

# W poszukiwaniu straconego czasu





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

MARCEL PROUST

# *W poszukiwaniu straconego czasu*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI, MAGDALENA TULLI

## *W stronę Swanna*

# OD TŁUMACZA

Kariera pisarska Prousta szła drogą dość niezwykłą. Zaczęła się stosunkowo późno, prze-rwała ją wojna, potem przecięła ją rychła śmierć. Ale, mimo że w chwili zgonu niezbrane było jeszcze w całości jego dzieło, już niepodobna było wątpić, że odszedł artysta i myśli-ciel na miarę największych; już Proust zaważył jak mało który z pisarzy na swojej epoce. Tuż po śmierci Prousta zaczęto gromadzić — z niezawodną pewnością ich znaczenia — dokumenty dotyczące pisarza i człowieka, listy, wspomnienia, tradycje ustne.

Równocześnie zaczęła narastać legenda. Nie ma dziś czytelnika — a może i nie czytel-nika — Prousta, który by nie wiedział o jego chorobie, o jego światowych sukcesach, o jego późniejszym odosobnieniu, o jego dostatku, hojności, neurastenii, dziwactwach, o heroizmie wreszcie, z jakim do ostatniego tchnienia pracował, uzupełniał swoje dzieło, spożytkowując jako materiał twórczy własne cierpienie, niemal własną śmierć.

Parę ściślejszych dat niewiele przyda do tego obrazu. Proust prawie nie ma biografii; przynajmniej zewnętrznej. Cały mieści się w historii swojej myśli, swojego dzieła.

Urodzony w r. 1871, syn znanego lekarza i higienisty profesora Adriana Prousta, mło-dy Marcel zdradzał przedwczesną inteligencję, która, połączona z kobiecym wdziękiem i przywilnością, czyniła go oryginalnym zjawiskiem. Ale bardzo wcześnie wystąpiły u nie-go objawy rzadkiej choroby — swoistej astmy — która skazała go na cieplarniany tryb życia. Zapach kwiatów i w ogóle roślin pomnażał ataki choroby; słońce było mu wrogiem; nauczył się coraz bardziej żyć w nocy, coraz więcej posługiwał się narkotykami dla uśmie-rzenia duszności i sprowadzenia opornego snu. Choroba ta miała zaciążyć na twórczości pisarza, akcentując to, co w tej twórczości jest rzadkie, przeczulone, cieplarniane. Bez-senne noce pogłębiły jego refleksje, cierpienie wyostrzyło jego zmysły. Za młodu marzył o podróżach; musiał się rozstać z tym marzeniem: poza wycieczką do Wenecji i letnimi pobytami w Cabourg (opisane w jego powieściach jako *Balbec*) nie ruszał się z Paryża. Namietność podróży przetworzył na ową podróż w czasie, jaką jest jego dzieło.

Za młodu Proust — wspomagany w tym przez rodziców — starał się walczyć ze swo-ją chorobą. Uczęszczał do kolegium; odbył — złagodzoną co prawda przez względnosc przełożonych — jednoroczną służbę wojskową, brał udział w życiu literackim młodych. Wraz z kilkoma przyjaciółmi — między nimi Flers, Barbusse, Daniel Halévy, Gregh, Leon Blum — zakłada pismo *Le Banquet*; artykuły, które pomieszcza w tym piśmie młody Proust, zdradzają żywą ciekawość intelektualną i szerokie czytanie, zwłaszcza w piśmiennictwie obcym.

Potem pociąga go życie światowe. Jak gdyby wiedziony instynktem przyszłej twórczo-ści, Proust wchodzi w arystokratyczne sfery Paryża. Osobisty urok i zalety towarzyskie otwierają mu najbardziej zamknięte salony. Młody Marcel staje się duszą zebrań; błyskotliwością rozmowy, werwą swoich słynnych parodii i imitacji umie ożywić ten „świat nudów”. Zapuszcza się w salony literackie, bawiąc się ich śmiesznościami, ale umiając ocenić usługi, jakie oddają przenikaniu sztuki. Ociera się o wielki półświatek, urzekający artystę cieplarnianą poezją mody, stroju, zbytku, wdziękiem nietrwalego kwiatu. Chętnie odwiedza Lasek Buloński, gdzie słynny „Boni” i książę de Sagan stanowili wówczas centrum świata elegancji. Młody Proust wydawał u siebie obiady, gdzie wobec najwy-tworniejszego towarzystwa poeci mówili subtelne wiersze.

Ogromną rolę w życiu Prousta grała przyjaźń. Przyjaźnił się z wieloma kobietami i z wieloma mężczyznami; wkładał w te przyjaźnie bardzo wiele; czuły, oddany, usłużny, zasypywał swoich przyjaciół grzecznościami, kwiatami, upominkami; to znów, wrażliwy jak mimosa, urażał się lada czym lub lękał się, że kogoś uraził, i wówczas nie było końca listom z wymówkami, przeprosinami, komentarzami.

Powodzenia te oddaliły Prousta od dawnych towarzyszy, którzy niebawem przycze-pili mu niebezpieczną etykietkę światowca, dyletanta, snoba. Pierwszą jego książkę *Les Plaisirs et les Jours*, zbyt koźnie wydaną, z grzecznościową przedmową samego Anato-la France’a, również przyjęto jako wczasy zamoźnego amatora. Zdecydowano rychło, że z Prousta nigdy nic nie będzie. Nie mogły zmienić tej opinii kroniki „światowe” — dziś inaczej oceniane — jakie pomieszczał w *Figarze* pod pseudonimem „Horatio”, ani nawet przekład Ruskina, w którym utopił sześć lat życia, opatrując pisma Ruskina obszernymi

przedmowami. Proust czuł tę opinię o sobie, zapewne cierpiał od niej, może ją podzielał. Lata biegly, ten i ów z dawnych towarzyszy stał się głośny lub sławny, podczas gdy on... W samym tytule jego utworu czuć, że ten „stracony czas” musiał mu być bolesny.

A jednak trudno o czas mniej stracony, bardziej wypełniony, wydajniejszy! Świadomie czy nie, Proust przygotowywał w nim swoje dzieło. Instynktownie obrał teren, na którym „komedia ludzka”, mająca być przedmiotem jego książki, najdostępniejsza była obserwacji. Zaciekawiony, rozbawiony, mający dar egzotyzowania powszedniości, Proust obserwował niestrudzenie; zestawiał fakty, obyczaje, anegdoty, chwycił na gorącym uczynku stosunki ludzi między sobą, doraźnie opatrywał je swoistym filozoficznym komentarzem i magazynował wszystko w swojej zdumiewającej pamięci. Dokumentował się na wszelkie sposoby. Bo pochłonięty praktyczną obserwacją „wyżyn społecznych”, Proust prowadzi równocześnie swoją ankietę na innym planie; ulubioną jego pasją były rozmowy ze służbą, z garsonami modnych restauracji. Podszełka bogatego wierzchu.

Okolo roku 1905, po śmierci ukochanej matki, Proust coraz bardziej zaczął się odsuwać od świata. Po rozbiciu się domu rodzinnego — ojca stracił już kilka lat przedtem — przeniósł się na *boulevard Haussmann*, wynajął duże mieszkanie, stłoczył wszystkie meble razem, sam zaś osiadł w jednym pokoju, który kazał wysłać korkiem dla uzyskania ciszy, ale nigdy nie zdobył się na to, aby dać obić korek tapetą. Meble pokrywały się kurzem, łóżko i podłoga papierami, gdy Proust, coraz bardziej oderwany od wszystkiego, co nie było jego dziełem, zaczął gorączkowo pisać. Odtąd jeżeli się pojawiał w świecie, to przeważnie po to, aby sprawdzić jakiś szczegół swego utworu, zdobyć potrzebną informację. Choroba jego robiła postępy, śpieszył się. Zawsze dygocący od zimna, w ciężkim futrze, zarośnięty, dawny cherubin zjawiał się czasem jak upiór na jakimś arystokratycznym balu, którego uczestnicy nie wiedzieli, że może pozują w tej chwili do nieśmiertelnego obrazu. Bliskim jego wiadomo było, że pisze, ale nikt nie wiedział co, nikt nie interesował się tym zbyt. Proust nałożył sobie tę rzadką i wymagającą dużego hartu dyscyplinę, aby nie rozpocząć druku, dopóki nie ukończy całości. Pisał lat siedem czy osiem, zanim położył kreskę pod ostatnim ustępem ostatniego tomu. I wówczas zaczęła się nowa trudność. Kto odważy się wydać sześć tomów pana Prousta, nieznanego, i gorzej niż nieznanego, bo zdyskredytowanego swymi światowymi koneksjami? Intelktualna i odważna *Nouvelle Revue Française* zwraca mu skrypt (jak się później okazało, bez czytania): czegoś spodziewać się po innych! Nie chcą Prousta w *Mercure de France*; księgarz Fasquelle orzeka, że utwór pan Prousta „zbyt różny jest od tego, co publiczność nawykła czytać”; inni zrywają zamożnego amatora drwinami. Proust był istotnie — zwłaszcza po śmierci ojca — człowiekiem więcej niż zamożnym i mógł bez trudności wydać swoje dzieło własnym kosztem; ale przyjaciele odradzali mu to jako coś, co deprecjonuje książkę i autora. W końcu, zrezygnowany Proust znajduje wydawcę, który decyduje się — dać firmę, o ile autor pokryje koszt. W r. 1913 ukazuje się pierwsza część *Poszukiwania straconego czasu*, pod niewdzięczniejszym jeszcze tytułem *W stronę Swanna*. Krytyka, poza jednym artykułem Soudaya, zachowuje głębokie milczenie, głośny zaś entuzjazm paru przyjaciół Prousta nastroja innych tym oporniej.

Ale powoli krąg zwolenników tej książki, urażającej w istocie wszystkie przyzwyczajenia ówczesnego czytelnika, rozszerza się. Ktoś zaczyna czytać od początku — i odrzuca książkę z niechęcią i zmęczeniem: któregoś dnia podejmuje ją i otwiera na los szczęścia w środku; czyta stronicę, dwie, i nie może się oderwać; wraca do początku, pochłania całość, wybucha zachwytem, biega z książką po znajomych, wtyka im ją w rękę, zaraża ich swoim entuzjazmem. Tworzy się coś na kształt kapliczki Prousta: drugi tom ma już zapewnioną nieliczną wprawdzie, ale wyrafinowaną publiczność. Ten tom, mozolnie przerabiany przez autora, jest właśnie w druku: już, już ma się ukazać — zapowiedziano go na jesień roku 1914 — kiedy wybucha wojna.

Jeżeli dla którego pisarza wojna zdawała się ruiną jego twórczej egzystencji, to dla Prousta. Nie tylko dlatego, że na kilka lat sparaliżowała we Francji zainteresowania czysto artystyczne; że odsunęła na bok książki niezwiązane z wojną i problematami chwili; ale dlatego, że zarazem unicestwia — tak się zdawało — całą przedwojenną epokę, z której wyrosło dzieło Prousta. W bombardowanym Paryżu, gnębiony swoją morderczą astmą, niezdolny do noszenia broni i tym bardziej obolały od biuletynów zwiastujących mu

śmierć wielu bliskich, Proust pozostał sam ze swoim biednym rękopisem. Mniej wierzący w swoje posłannictwo autor rzuciłby go może w ogień; Proust wziął go na nowo na warsztat i pogubił niemal do czterokrotnej objętości. Skorzystał z perspektyw chwili, z nowych stanów duszy i nowej nauki życia, aby wzbogacić swoje dzieło. Tylko pierwsza, poprzednio wydana część pozostała w pierwotnej postaci; dalsze cztery tomy miały się rozrósć do czterestu.

Krwawe lata minęły wreszcie. Proust wklejał coraz nowe karty między wiersze dawnego rękopisu. Jeden z redaktorów *Nouvelle Revue Française*, Jacques Rivière, przeczytał tymczasem ów pierwszy tom Prousta — w obozie jeńców w Niemczech, i zawstydził się lekceważenia, z jakim wydawnictwo jego odniosło się do tej rewelacyjnej książki. Już nie mogło być mowy o tym, aby kazać Proustowi dopraszać się łaski wydawców. I prawie równocześnie z zawieszeniem broni — rzecz możebna jedynie we Francji, jeszcze dymiącej krwią, a tak cudownie żywotnej i ufnej — pierwszą książką, która się ukazała — w listopadzie r. 1918 — był dalszy ciąg utworu Prousta, pod jakże egzotycznym w stosunku do chwili tytułem: *A l'ombre des jeunes filles en fleurs*. I w następnym roku — 1919 — „zakwitające dziewczęta” Prousta zdobywają nagrodę Goncourtów, mając za rywala Dorgelès’a i jego *Drewniane krzyże*. Oficjalna konsekracja pisarza, która nie rozbija niechętną krytyki. „Tym razem — pisze któryś — Goncourci dali nagrodę pisarzowi naprawdę nieznanemu. Nie jest młody, ale nieznanany jest i nieznanany pozostanie...” A równocześnie poczta przynosi Proustowi kilkaset listów z wyrazami radości i entuzjazmu ze wszystkich krajów.

Odtąd Proust wchodzi w sławę. Staje się żywą legendą, mitem; kursują anegdoty o nim, o jego szczególnym trybie życia, wynikłym przeważnie z choroby. Zjeżdżają się z daleka jego entuzjaści, aby go ujrzeć, poznać. Ale na próżno. Trawiony nieubłaganą chorobą, Proust ma przed sobą tylko parę lat, które musi całkowicie oddać swemu dziełu. Zaczyna się tragiczny wyścig między pisarzem a śmiercią. Proust — jak Balzac — w korekcie zwłaszcza daje ostateczny kształt każdej stronicy; czy zdoła dokończyć, czy zdąży doprowadzić druk do końca, to jedyna rzecz, jaka go interesuje. Po *Stronie Guermantes* ukazują się w r. 1922 trzy tomy *Sodomy i Gomory* — „jedna z najśmielszych książek jakie istnieją”, powiada jego monografista Pierre-Quint. Ale to są ostatnie tomy, jakie wyszły za jego życia. Proust umiera w listopadzie r. 1922, licząc zaledwie pięćdziesiąt jeden lat.

Po śmierci pisarza pozostał trud doprowadzenia do końca druku dzieła z pozostałych rękopisów, zagmatwanych poprawkami, spęczniałych od dopisków. Trwało to kilka lat; ostatnia część ukazała się w r. 1927. Każdy tom pomnażał zachwyt nad dziełem, odsłaniał nowe perspektywy, rozwijał poprzednio zaznaczone motywy, ujawniał głęboko przemyślany plan. Ostatnie tomy — *Czas odnaleziony* — uwieńczyły wreszcie całość niby kopuła. Dzieło Prousta objawiło się w całości, imponujące, niepodobne do niczego w literaturze świata. Popularność jego rosła — liczba nakładów wskazuje dziś cyfry sięgające stu kilkudziesięciu kilku tysięcy. Mnożą się przekłady na języki obce. „Kto szuka genialności, ten w sferze francuskiej powieści znajdzie ją tylko u Prousta” — pisze o nim E. R. Curtius. A po ukazaniu się całości jego dzieła po niemiecku inny krytyk mówi: „Proust jest — powiedzmy to wręcz — największym poetą współczesnej literatury europejskiej”.

Utwór *W poszukiwaniu straconego czasu* zamyka — poza paroma tomami kronik i esejów — wszystko, co wyszło spod pióra Prousta. Obejmuje w oryginale 16 dużych tomów. Dzieli się na siedem części, każda po parę tomów. Tytuły tych części brzmią: 1. *W stronę Swanna*; 2. *W cieniu zakwitających dziewcząt*; 3. *Strona Guermantes*; 4. *Sodoma i Gomora*; 5. *Niewolnica*<sup>1</sup>; 6. *Nie ma Albertyny* 7. *Czas odnaleziony*.

Nie zamierzam tu podjąć analizy dzieła Prousta, które dopiero stopniowo i powoli znajdzie się w rękach polskich czytelników. W tej chwili byłoby to przedwczesne. Pragnę jedynie w najprostszych słowach zaznaczyć plan całości, a raczej zwrócić uwagę na wielość płaszczyzn, na których porusza się twórcza myśl pisarza. Myśl ta „jest tak złożona, że ujawnia się aż bardzo późno, kiedy wszystkie tematy zaczną się kombinować”, pisał sam Proust, troskając się, że dzieło jego nie będzie od początku zrozumiane.

<sup>1</sup>*Niewolnica* — ostatecznie przyjęto tytuł *Uwięziona* (fr. *La Prisonnière*). [przypis edytorski]

Nie sędzę, aby to niebezpieczeństwo groziło pierwszej części, która, zamknięta niemal sama w sobie, tworzy raczej urocze preludium niż uwerturę do tej ogromnej kompozycji. Wprowadza nas w nią osoba opowiadającego, cały bowiem utwór pomyślany jest w formie jak gdyby pamiętnika. Proust bierze jako przewodnika swego sobowtóra, dając mu własne chorowite i przewrażliwione dzieciństwo, własne — zaledwie nieco przetworzone — wspomnienia rodzinne. Ale w ogóle nie pytajmy zbyt o „realia”, nie pytajmy o chronologię, przeciw której autor świadomie i rozmyślnie wykracza. Z dziecka urasta chłopiec, który czyni pierwsze nieśmiałe kroki w świecie; potem rozszerza się krąg jego znajomości; wchodzi — jak sam Proust — w arystokratyczne towarzystwo, ociera się o świat dwuznacznych uczuć przez despotycznego pana de Charlus i nieuchwytną Albertynę; przechodzi męki miłości i zazdrości, łamie się ze swoim twórczym powołaniem, aż wreszcie miraż życia roztapia się dlań w jedynej prawdzie sztuki. Dokoła tej figury opowiadającego, która to wysuwa się na pierwszy plan, to ginie w cieniu, grupuje się cały świat Prousta. W miarę ukazywania się tomów dzieła czytelnicy rozmawiali o jego figurach jak o swoich osobistych znajomych, podobnie jak sto lat wprzód o figurach Balzaka. Postacie te, mniej liczne niż u Balzaka, ale pulsujące nie mniej nasilonym życiem, przesuwały się w kartach powieści poprzez różne tomy; aby ułatwić czytelnikom orientowanie się w tym „ruchu ludności” uczynił Pan Charles Daudet dla Prousta to, co swego czasu uczyniono dla *Komedii Ludzkiej*; wydał skorowidz osób i ich udziału w akcji powieści; skorowidz, nawiasem mówiąc, niewolny od przeoczeń i błędów.

Postacie żyjące na kartach Prousta posiadają takie znamię prawdy, że publiczność chciała się w nich dopatrywać autentycznych wizerunków. Plotka szukała wzorów między znajomymi pisarza. Ale Proust bronił się przeciw takiemu zwięzaniu prawdy artystycznej, podkreślając syntetyczny charakter każdej z figur, w którą wchodziły rysy wielu żywych osób, aby stworzyć postać oddychającą zstokrotnionym życiem fikcji. Jeden tylko jest tu portret niewątpliwy — oczywiście też spotworniały i wyolbrzymiony: to ów późniejszy baron de Charlus (w pierwszej części nawet się nie zapowiada jego dalszy charakter), do którego dał Proustowi natchnienie głośny światowiec i poeta, Robert de Montesquiou. Nie pierwszy to raz przyszło mu pozować do portretu; parę dziesiątków lat wprzód ten sam Montesquiou uchodził za model bohatera powieści *A rebours* Huysmansa, „dekadenta” des Esseintes.

Ale prawdziwym bohaterem dzieła Prousta jest Czas; czas, który jest współczynnikiem wszystkich osób, współaktorem wszystkich zdarzeń; czas, który sam Proust mieni *czwartym wymiarem*. Każda z figur przeżywa na kartach powieści lat kilkanaście, czasem kilkadziesiąt; w przeciwieństwie do Balzaka, który wydobywa z każdej postaci zwłaszcza to, co w charakterze człowieka jest stałe i niezmiennie, Proust dąży do oddania nieustannej płynności stanów duszy, pozornych niekonsekwencji charakteru, określonych bardziej złożonymi, ale niemniej konkretnymi prawami. Dochodzi do paradoksu w gotowaniu nam niespodzianek; robi sobie po trosze zabawę z tego, aby wszystko się działo inaczej, niżby można przypuszczać.

I jak nie miałyby być w człowieku nieustannych sprzeczności, skoro świadome jego życie jest tylko wciąż zmieniającą się wypadkową sumujących się i krzyżujących czynników podświadomości, grą wielorakiej dziedziczności, urazów i kompleksów dzieciństwa! Równocześnie z Freudem i zapewne nie znając go jeszcze, Proust odgadł i zmitologizował najistotniejsze odkrycia freudyzmu. I jak niegdyś dzieło Balzaka było ściśle spowinowaczone ze współczesną myślą naukową, wyprzedzając ją nieraz zresztą, tak samo dzieło Prousta jest dziełem epoki Bergsona, Freuda i Poincarego, odmaterializowanej fizyki, rewolucyjnej chemii. Ileż uczuć przed nim uważanych za pierwiastki rozłożyła chemia Prousta; ileż rozsadził on atomów psychicznych!

Gdy mowa o dziele Prousta, raz po raz nasuwa się na myśl Balzac, mimo bardzo głębokich między nimi różnic. Jako malarz społeczeństwa, Proust wykreśla sobie inne perspektywy. Gdy w świecie balzakowskim największą część energii ludzkiej pochłania walka o byt, pieniądź, praktyczna ambicja, u Prousta — może wynikało to z cieplarnianych warunków jego osobistego życia i ze specjalnego terenu jego obserwacji — wszystkie prawie działające osoby położeniem swoim uwolnione są od grubych trosk życia, zabiegi ich odnoszą się do spraw mniej uchwytnych, ale tym sposobniejszych dla zademonstrowania teatru duszy człowieka. „Psy gryzą się nad kością, ludzie nad cieniem” — powiada

nasz Fredro. Snobizm dostępuje w ujęciu Prousta filozoficznej konsekracji. Nie tylko snobizm towarzyski w tradycyjnym znaczeniu tego słowa: Proust jest prawdziwym mistrzem w kombinowaniu jego odcieni; ale snobizm właściwy wszystkim klasom, wszystkim stanom, będący nie czym innym jak tylko aurą złudy, w jakiej porusza się każdy człowiek. Nieśmiertelną monografią takiej złudy jest *Don Kiszot* Cervantesa; otóż, wyobraźmy sobie stu Kiszotów — każdy odmiennego typu — współżyjących z sobą, a zrozumiemy intencję Prousta.

Ale i w życie społeczne miesza się współczynnik czasu. Dzieło Prousta jest — na ograniczonym, ale jakże genialnie wyzyskanym odcinku — historią wielu epok; obejmuje więcej niż pół wieku. Sięgając poprzez miłość Swanna i młodość Odety głęboko w przeszłość, Proust doprowadza swoją powieść aż do ostatnich lat, wydobywając ileż bogactw z wielokrotnego przeobrażenia form, obyczajów, sposobu myślenia, mówienia i czucia. Nikt tak jak Proust nie umiał odtworzyć subtelnego zapachu przeszłości, oddać, za pomocą właściwości samego języka, kolejnych epok spotykających się z sobą nieraz przy jednym stole.

W na wskroś odmaterializowanej koncepcji świata wyznawanej przez Prousta dwa są dominujące elementy: sztuka i miłość. Sztuka ma swego fanatyka w Prouście, dla którego jest ona jedyną realnością istnienia, i to bez przerośnię, dosłownie. „La petite phrase” sonaty Vinteuila jest leitmotivem<sup>2</sup> nie tylko miłości Swanna, ale i całego dzieła Prousta, którego muzyczność działa chwilami na nas ze zdumiewającą siłą sugestii. Co się tyczy miłości, sama „Miłość Swanna” — zawarta w pierwszej części utworu — starczyłaby za przykład, jak bardzo Proust umiał odnowić ten, zdawałoby się, tak zużyty temat. Ileż paradoksalnych odkryć streszcza się w końcowym wykrzykniku Swanna! Miłość w różnych odcieniach nasyci i dalsze tomy, ale w miarę jak Proust posuwa się w swoim dziele, coraz bardziej pochłania go zagadnienie usymbolizowane w tytule centralnej części: *Sodoma i Gomora* — homoerotyzm. Zdaje się, że motyw ten, zaznaczony w pierwszej redakcji *Poszukiwaniu straconego czasu*, rozrósł się niepomierne w redakcji ostatecznej, będącej wynikiem ponownego wzięcia tego utworu na warsztat. Czy działał tu przełom lat wojennych, osłabiający nietykalność różnych *tabu*, czy większe oderwanie się Prousta od świata i rosnąca w nim potrzeba bezwzględnej prawdy, czy może zachodząca w samym Prouście — jak w jego bohaterze Saint-Loup — znamienna ewolucja w tej mierze, trudno tutaj rozstrzygać. Ta część biografii Prousta wspiera się jak dotąd na tradycji ustnej; z rzadka pojawiają się pisane dokumenty, które, w miarę jak będą się mnożyły, pod dotychczas znanym obliczem pisarza odsłonią nam może innego, tym tragiczniejszego Prousta. Nie umiem się oprzeć wrażeniu, że scena między panną Vinteuil a jej przyjaciółką ma jakiś akcent rozpaczliwie osobisty. W niektórych częściach utworu czuć jakby transpozycje płci, nawet kosztem prawdopodobieństwa sytuacji. Homoerotyzm we wszystkich odcieniach zajmuje w dziele Prousta tak wiele miejsca, że mogło się ono wydawać niemal monografią inwersji, co jest niewątpliwie bardzo fałszywe; niemniej faktem jest, że jest pierwszym i jakże głębokim studium zjawiska, którego przed Proustem zaledwie ważono się dotknąć. Proust zdawał sobie sprawę z zuchwalstwa obyczajowego, jakim była ta część jego dzieła. „Kiedy się zjawi Charlus, wszyscy się odwrócą ode mnie”, pisał w liście do przyjaciela. Ale kiedy się zjawił Charlus, Proust już nie żył. Nie sprawdziły się zresztą jego obawy; nikt chyba nie dojrzy w tej części dzieła Prousta czego innego niż odwagi i głębi myśliciela, badacza choroby, tym tragiczniejszego, jeżeli w krąg obserwacji rzetelność każe mu wciągnąć samego siebie.

Oto przegląd — niewyczerpujący bynajmniej — płaszczyzn, na których porusza się myśl Prousta. Łatwo zrozumieć, że wszystko, co w tym ujęciu świata było nowe i co dziś wydaje się najcenniejsze, musiało zrazu odstręczyć pobieżnych czytelników. Proust lekcewał sobie to, co zazwyczaj stanowi siłę i urok powieści: fabułę, wikłanie przygód. Nigdy nie ślizga się po powierzchni zjawisk, zawsze drąży w głąb, a introspekcja jego jest tak dramatyczna i zajmująca, że obchodzi się bez zewnętrznych perypetii „bajki”. Zainteresowanie płynie nie ze zdarzeń, ale z perspektyw, jakie nam Proust umie pokazać, z myśli, jaką umie przesycić najbardziej znany fakt, który nagle oglądamy nowymi oczami. Z drażniącą dla wielu nonszalancją nigdy nie liczy się z czasem. Podwieczorek u pani

<sup>2</sup>leitmotiv (z niem.) — motyw przewodni. [przypis edytorski]

de Villeparisis zajmuje pół tomu, obiad u księżnej de Guermantes co najmniej tyleż; ale któraś powieść potrafi tak zagarnąć i przykuć czytelnika, jak te genialne akty nowej „komedii ludzkiej”!

Bo mimo iż skąpany w poezji, ociekający wręcz poezją, utwór Prousta jest zwłaszcza komedią w znaczeniu dosłowniejszym jeszcze niż u Balzaka. Mimo bolesności wielu kart jego dzieła, mimo zasadniczo tragicznego stosunku do życia, Proust należy do rasy wielkich humorystów. Może to skutek jego patetycznej, a tak bliskiej jeszcze śmierci, może skutek snobistycznego nieco nastawienia pierwszych wielbicieli, ale za mało mówi się o komizmie w dziele Prousta. Wobec dykjonarza komunałów u Prousta, pokazanych w żywym materiale, słynny „dykjonarz komunałów” Flauberta jest dziecinnie ubogi! Rozdźwięki między fikcją a rzeczywistością — a raczej tym, co zwykliśmy dla wygody nazywać „rzeczywistością” — zderzenia baniek mydlanych, jakie każdy wydyma dokoła siebie i w jakich, niby żółw w skorupie, wędruje po świecie, konfrontacje epok i światów, wszystko to daje efekty nieodparcie komiczne. Komiczne jest tu wszystko, co jest towarzyskością; komiczny człowiek poruszający się wśród ludzi; tragicznym staje się, gdy pozostaje sam ze sobą.

Oddając polskim czytelnikom w ręce dzieło Prousta, uważam za konieczne zdradzić im jeden sekret. Mianowicie ten, że lektura Prousta wymaga niejakiej cierpliwości; autor ten żąda pewnego kredytu. Wynika to po prostu z techniki jego tworzenia, z rozmiarów tej olbrzymiej, jedynej w swoim rodzaju kompozycji. Niewątpliwie bywały i większe cykle powieściowe: *Komedia ludzka* Balzaka obejmuje 95 utworów; cykl Zoli składa się z dwudziestu paru dubeltowych tomów. Ale związek poszczególnych członów inny tam jest niż u Prousta. Każdy utwór Balzaka zyskuje niewątpliwie w związku z całością, ale nie ma bezpośrednich stosunków między dajmy na to *Ojcem Goriot*, *Eugenią Grandet* a *Kawalerskim Gospodarstwem*. Toż samo u Zoli; każda powieść cyklu stanowi odrębną całość, z odrębnymi figurami, a węzły krwi między członkami rodziny Rougon-Maquart są dość nieistotne i dla czytelnika obojętne. Inaczej u Prousta. Tu ciągłość opowiadania jest ścisła, a plan skomponowany z zadziwiająco precyzją; motywy prowadzone są z całą sztuką kontrapunktu. Jeżeli nas zastanowi jakiś szczegół w jednym z pierwszych tomów, możemy być pewni, że znajdziemy jego odpowiednik logiczny w którymś z następnych. Nic nie jest powiedziane ani pokazane na próżno; wszystko gra przez cały czas, aż wreszcie znajdzie swój ostateczny sens w przejmującej instrumentacji finału. Wiem z doświadczenia, a potwierdzają mi to zwierzenia wielu czytelników Prousta, iż kiedy się go czyta po raz pierwszy, wiele rzeczy uchodzi naszej uwagi; ale kiedy, znając już całość lub bodaj większą jej partię, uczynimy sobie tę przyjemność, aby wziąć na nowo któryś z poprzednich tomów, odkrywamy nowe perspektywy, nową myśl w każdym niemal szczególe, rozumiemy wszystko inaczej. I to jest jedna z nie najmniejszych rozkoszy intelektualnych, jakie daje ta lektura.

Oczywiście, podziwiając wspaniałą konstrukcję dzieła, niepodobna zamykać oczu na przeobrażenie, jakiemu ono uległo pomiędzy wydrukowaniem części pierwszej a następnych. Skoro pierwsza część — *W stronę Swanna* — pozostała w dawnej postaci, dalsze zaś tomy rozrosły się w czwórnasób, zrozumiałe jest, że pierwotny plan musiał ulec pewnej deformacji — co najmniej w swoich proporcjach. Rozszerzając horyzont doświadczeń pisarza o kilka lat — i to jakich! — nowa praca nad rękopisem wzbogaciła jego spojrzenie wstecz mnóstwem nowego materiału, którego kończąc utwór swój w r. 1912 nie mógł nawet przeczuwać. Stąd nawet pewne rysy w dziele, którego dwie redakcje powstały w tak różnych epokach i różnych stanach ducha. Ukazała się niedawno (1934) książka<sup>3</sup> prof. Feuillerat *Comment Marcel Proust a composé son roman*, w której na zasadzie pracowniczego zestawienia tekstów autor dochodzi do rozróżnienia „dwóch Proustów”. Nawet styl jego nosi ślady nieustannej pracy, w której zdania i okresy puchły nieraz od narastających bogactw i komplikacji myśli.

I tu trzeba nam powiedzieć parę słów tyczących formalnej strony dzieła oraz stosunku tłumacza do niej. Faktem jest, że to, co najbardziej odstręczało pierwszych czytelników od Prousta, to był jego sposób pisania, jego styl. Olbrzymie przez wiele stronic gęste

<sup>3</sup>Ukazała się niedawno (1934) książka — por. T. Żeleński (Boy), *Nowe oblicze Prousta*, „Wiadomości literackie”, nr. 624. [przypis tłumacza]



druku ciągnące się okresy bez momentu wytchnienia, z bardzo rzadkimi „a capite”; trwające zdania przez stronicę i dłużej; zawile, skomplikowane, pełne nawiasów w nawiasach — niby pudełeczko w pudełeczku i pauz wydzielających kilkuwierszowe nieraz wstawki; zaimek poprzedzający nieraz o kilka wierszy rzeczownik, który zastępuje; konstrukcja rozległych fraz, do których klucz znajduje się często w ostatnim słowie i do których po przeczytaniu trzeba jeszcze raz powracać, wszystko to — łatwo sobie wyobrazić — nie zyskało mu sympatii francuskich zwłaszcza czytelników, nawykłych do innych zgoła kanonów stylu. Powiedziano też zrazu o stylu Prousta wszystko złe, co można powiedzieć. Ale stopniowo zaczęto patrzeć na to inaczej. Przyzwyczajono się; nauczono się czytać Prousta; rozumiano, że nowa myśl wymaga nowej formy; że to dziwne monstrum, jakim bywa zdanie Prousta, jest organicznie zespolone z istotą fenomenu, jakim jest jego indywidualność, bogata, skomplikowana, widząca w każdym zjawisku wiele rzeczy naraz. Poprzez oporny na pozór rytm Prousta wyczuło wewnętrzną melodię, jaka przesyca jego okresy; spostrzeżono, że mimo przeciwnych pozorów najczęściej zdania te zbudowane są bez zarzutu, że podobne są człowiekowi idącemu po linii, który balansując nad przepaścią, dochodzi pewną stopą do końca. Wyczerpano z kolei dla stylu Prousta wszystkie superlatywy. Ale nie popadajmy w bałwochwalstwo. Styl Prousta — który uwielbiam — bywa nierówny. Wynika to z bogactwa i subtelności jego myśli, skomprimowanej niekiedy jak pastylka, a także ze sposobu jego pracy, z nieustannych poprawek na rękopisie, na korekcie (księgarz wydierał mu w końcu korektę i sam podpisywał ją do druku!) rozsadzających nieraz zdanie aż do pojemności przekraczającej wytrzymałość przeciętnego czytelnika.

To, co powiedziałem, wskazuje na trudności, jakie — poza innymi, wynikłymi z precyzji myśli, z bogactwa i rzadkości słownictwa — nastęcza tłumaczowi samo zdanie Prousta. Takiego jak jest w oryginale, nie zniósłby często język polski. To, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi. Polski język nie dopuszcza nieograniczonego mnożenia zdań zależnych i nizania ich w długie bez końca łańcuchy. Często — przyznaję się do tego — wypadało łamać zdanie i składać je na nowo; często — aby osiągnąć większą przejrzystość — trzeba było dzielić je na części. Zarazem pozwoliłem sobie poczynić pewne zmiany w układzie drukarskim, zwiększając liczbę „akapitów” oraz wyodrębniając dialogi, co niewątpliwie przyczynia się do czytelności książki. Nie sądzę, abym był przez to w niezgodzie z intencjami Prousta, który wielokrotnie w korespondencji swojej wyraża gorączkowe pragnienie, aby być czytany — i to nie przez szczuplejszy krąg wyrafinowanych intelektualistów, ale przez szeroką publiczność. I wciąż, w ciągu tej pracy; słyszałem wewnętrzną muzykę myśli Prousta, i tę starałem się zachować i oddać.

# CZĘŚĆ PIERWSZA. COMBRAY

## I

Przez długi czas kładłem się spać wcześniej. Niekiedy, ledwie zgasił świecę, oczy zamykały mi się tak prędko, że nie zdążyłem powiedzieć sobie: „Zasypiam”. I w pół godziny potem myśl, że czas byłby zasnąć, budziła mnie; chciałem odłożyć książkę, którą, zdawało mi się, że trzymam jeszcze w ręce, i zgasić światło; nie przestałem, śpiąc, zastanawiać się nad tym, com przeczytał; ale te refleksje przybierały charakter nieco odrębny; zdawało mi się, że to ja sam byłem tym, o czym mówiła książka: kościołem, kwartetem, rywalizacją Franciszka I z Karolem V. Przeświadczenie to trwało jeszcze kilka sekund po przebudzeniu; nie raziło mego rozumu, ale ciążyło mi jak łuska na oczach i nie pozwalało im uświadomić sobie, że świeca już się nie pali. Następnie świadomość ta zaczynała mi być niezrozumiała, niby po metempsychozie myśli z poprzedniego istnienia; treść książki odrywała się ode mnie, mogłem wrócić do niej albo nie; natychmiast odzyskiwałem wzrok i czułem się bardzo zdziwiony, że widzę dokoła siebie ciemność słodką i kojącą dla oczu albo bardziej może jeszcze dla ducha, któremu wydawała się rzeczą bez przyczyny, niezrozumiałą, rzeczą naprawdę ciemną. Pytałem sam siebie, która może być godzina; słyszałem gwizd pociągów, który — bliższy lub dalszy — jak śpiew ptaka w lesie, uwydatniając odległości, określał mi rozmiar pustkowi, kędy podróżny spieszy do najbliższej stacji: ścieżka, którą idzie, wyrzyna się w jego pamięci dzięki podnieceniu zrodzonemu z nieznannej okolicy, z niezwykłych czynności, z niedawnej rozmowy i z pożegnań w kręgu obcej lampy, biegnących za nim w ciszy nocnej — z bliskiej wreszcie słodczy powrotu.

Przyciskałem czule twarz do pulchnych policzków poduszki, które, pełne i świeże, są niby policzkami naszego dzieciństwa. Pocierałem zapalkę, aby spojrzeć na zegarek. Blisko północ. Jest to chwila, w której chory, który musiał puścić się w podróż i spać w obcym hotelu, obudzony atakiem choroby, cieszy się, widząc pod drzwiami smugę dnia. Co za szczęście, to już rano! Za chwilę służba wstanie, będzie mógł zadzwonić, przybędą mu z pomocą. Nadzieja rychłej ulgi dodaje mu sił do cierpienia. Właśnie zdawało mu się, że słyszy kroki; kroki zbliżają się, potem oddalają. A smuga dnia, która była pod drzwiami, znikła. To północ: właśnie zgaszono gaz; ostatni służący odszedł i trzeba będzie przetrwać całą noc, cierpiąc bez ratunku.

Zasypiałem na nowo. Czasami miałem już tylko krótkie chwile ocknienia: tyle, aby usłyszeć trzeszczenie wyschłej boazerii, aby otworzyć oczy, wlepić je w kalejdoskop mroku, i — dzięki chwilowemu błyskowi świadomości — kosztować snu, w którym pogrążone są meble, pokój, wszystko, czego ja byłem tylko częścią i z czym niebawem znów się łączyłem w bezczuci. Lub też, śpiąc, cofałem się bez wysiłku w miniony na zawsze wiek mojego dawnego życia; odnajdywałem któryś z moich dzieciennych lęków, na przykład ten, że dziadek pociągnie mnie za pukiel włosów: obawa, której położył koniec dzień — data nowej dla mnie ery — kiedy je obcięto. Zapomniałem o tym wydarzeniu we śnie: odnajdywałem jego pamięć, skoro tylko udało mi się zbudzić, aby się wymknąć z rąk dziadka; ale przez ostrożność kryłem całkowicie głowę w poduszkę, zanim powrócę w świat snów.

Czasami, tak jak Ewa urodziła się z żebra Adama, kobieta rodziła się w czasie snu z niewłaściwej pozycji mego uda. Tworzyła się z rozkoszy, której doznania byłem bliski, — a ja wyobrażałem sobie, że to ona mi ją ofiaruje. Ciało moje, które czuło w jej ciele własne ciepło, pragnęło się z nim połączyć; budziłem się. Reszta ludzi wydawała mi się czymś bardzo dalekim wobec tej kobiety, którą opuściłem zaledwie przed chwilą; policzek mój był ciepły jeszcze od jej pocałunku, ciało zdrętwiałe od ciężaru jej ciała. Jeżeli, jak zdarzało się niekiedy, miała rysy kobiety, którą znałem w życiu, chciałem się jej oddać całkowicie: odnaleźć ją, jak ci, którzy puszczają się w podróż, aby ujrzeć na własne oczy upragniony kraj, i wyobrażają sobie, że można kosztować w rzeczywistości czaru marzenia. Pomału wspomnienie jej pierzchało, zapomniałem córy swoich snów.

Człowiek, który śpi, trzyma w krąg siebie nic godzin, porządek lat i światów. Razi się ich instynktownie budząc się i odczytuje z nich w jednej sekundzie punkt ziemi, w którym się znajduje, czas, który upłynął aż do jego przebudzenia się; ale ich szeregi mo-

Sen

Pamięć, Odrodzenie

Ciemność

Podróż

Noc, Choroba

Sen, Dzieciństwo

Sen, Ciało, Rozkosz

Sen, Kondycja ludzka,  
Obraz świata, Czas

gą się zmacić, przelewać. Niech nad ranem, po bezsennej nocy, sen zdejmie go podczas czytania w pozycji nazbyt różnej od tej, w której śpi zazwyczaj, wystarczy podniesionego ramienia, aby zatrzymać i cofnąć słońce; i w pierwszej minucie przebudzenia nie będzie już wiedział, która godzina, będzie myślał, że się dopiero co położył. Niech się zdrzemnie w pozycji jeszcze niewygodniejszej i bardziej niezwykłej, na przykład po obiedzie w fotelu — wówczas przewrót w wyważonych z orbit światach będzie kompletny; czarnoksiężski fotel pogna z nim z zawrotną szybkością poprzez czas i przestrzeń i w chwili otwarcia powiek będzie myślał, że zasnął kilka miesięcy wprzód w innej okolicy. Ale wystarczyło, żeby, nawet we własnym łóżku, sen mój był głęboki i odprężył całkowicie władze ducha; wówczas duch porzucał miejsce, w którym zasnąłem i, kiedym się budził w nocy nieświadom, gdzie się znajduję, w pierwszej chwili nie wiedziałem nawet, kim jestem; miałem jedynie w pierwotnej jego prostocie poczucie istnienia takie, jakie może drzeć w duszy zwierzęcia; byłem bardziej nagi niż człowiek jaskiniowy; ale wówczas wspomnienie — jeszcze nie miejsca gdzie byłem, ale paru miejsc, które zamieszkiwałem niegdyś i gdzie mógłbym być — schodziło ku mnie niby pomoc z góry, aby mnie wydobyć z nicości, z której nie byłbym mógł wyrwać się sam; przebiegałem w jednej sekundzie wieki cywilizacji, zanim mętnie dojrzały obraz lampy naftowej, następnie koszuli z wykładanym kołnierzem, odtworzyły mi z wolna prawdziwe rysy mego ja.

Być może, iż nieruchomość rzeczy dokoła nas narzucona im jest przez naszą pewność, że to są te, a nie inne; przez nieruchomość naszej myśli w obliczu nich. To pewna, że, kiedy się tak budziłem, gdy myśl szamotała się, próbując — bezskutecznie — dojść, gdzie jestem, wszystko kręciło się dokoła mnie w ciemności — rzeczy, kraje, lata. Ciało moje, zbyt odrętwiałe, aby się poruszyć, siliło się, wedle form własnego zmęczenia, odczytać pozycję swoich członków, aby z nich wywnioskować o kierunku ściany, o położeniu mebli, aby odtworzyć i nazwać mieszkanie, w którym się znajdowało. Pamięć ciała, pamięć własnych żeber, kolan, ramion, nastęrczała mu kolejno różne pokoje w których sypiało, podczas gdy dokoła niewidzialne ściany, zmieniając miejsce wedle kształtu wyrojonego pokoju, wirowały w ciemnościach. I zanim nawet myśl, wahając się na progu czasów i kształtów, zidentyfikowała mieszkanie zestawiając okoliczności, ono — moje ciało — przypominało sobie dla każdego mieszkania rodzaj łóżka, położenie drzwi, światło okien, istnienie korytarza, wraz z myślą, którą miałem zasypiając tam i którą odnajdywałem budząc się. Mój zeszytniały bok, próbując odgadnąć swoje położenie, widział się na przykład na wprost ściany w wielkim łóżku z baldachimem i natychmiast powiadałem sobie: „O, usnąłem, mimo że mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc”; byłem na wsi u dziadka, zmarłego od wielu lat; a ciało moje, bok, na którym spoczywałem — wierne piastuny przeszłości, której duch mój nie powinien był nigdy zapomnieć — przypominały mi płomień nocnej lampki z czeskiego szkła, w kształcie urny, zawieszanej u sufitu na łańcuszkach, kominek z imitacji marmuru w mojej sypialni w Combray, u dziadków, w odległych dniach, które w tej chwili wskrzeszałem, nie wyobrażając ich sobie dokładnie, a które ujrzalbym lepiej za chwilę, po całkowitym przebudzeniu się.

Potem odradzało się wspomnienie nowej pozycji; ściana pomykała w przeciwnym kierunku: byłem w swoim pokoju u pani de Saint-Loup, na wsi. Mój Boże, jest co najmniej dziesiąta, musi już być po obiedzie! Za długo widać przeciągnąłem wieczorną sjęstę, którą odbywam wróciwszy ze spaceru z panią de Saint-Loup, zanim włożę frak. Bo wiele lat upłynęło od Combray, gdzie, wracając nawet najpóźniej, widziałem na szybach czerwone odbłaski zachodu. W Tansonville, u pani de Saint-Loup, prowadzi się inny tryb życia; znajduję tam inny rodzaj przyjemności, wynurzając się aż z zapadnięciem nocy, chodząc przy blasku księżycy owymi drogami, na których bawiłem się niegdyś w słońcu; a kiedy wracamy, ów pokój, w którym rzekomo usnąłem zamiast ubrać się na obiad, błyszczą z daleka prześwieتلony płomieniem lampy niby latarnia morska.

Te zjawiska, wirujące i mętne, nie trwały nigdy dłużej niż kilka sekund. Często moja krótka niepewność miejsca nie rozróżniała rozmaitych przypuszczeń, z których się składała, tak samo jak, widząc pędzącego konia, nie oddzielamy kolejnych pozycji, które wykazuje kinetoskop. Oglądałem to jeden, to drugi pokój z tych, w których mieszkałem w życiu i w końcu przypominałem je sobie wszystkie w długich marzeniach, które następowały po przebudzeniu. Pokoje zimowe, gdzie, leżąc w łóżku, wtula się głowę w gniazdko uwite z najrozmaitszych rzeczy: z rogu poduszki, z kapy, z kawałka szala,

Obraz świata, Ciało,  
Pamięć, Przestrzeń, Sen

i z numeru *Débats roses*, przy czym spaja się wszystko razem, techniką ptaków, ugniatając to sobą bez końca; gdzie w mroźny czas miło jest czuć się bezpiecznym niby jaskółka morska w swoim ciepłym gniazdku pod ziemią, i gdzie opodal ognia płonącego całą noc na kominku śpi się w płaszczu ciepłego i dymnego powietrza, przeszywanego blaskami rozpalających się kolejno polan, niby w bezściennej alkowie, w gorącej jaskini wyłobionej w łonie samego pokoju, w upalnej i ruchomej strefie, wietrzzonej podmuchami, które nam chłodzą twarz, a płyną z kątów, z okolic okna lub z miejsc oddalonych od ognia i już ochłodzonych; — pokoje letnie, gdzie miło jest czuć się zespolonym z ciepłą nocą, gdzie blask księżycy, wsparty na uchylonych okiennicach, rzuca aż do stóp łóżka swoją czarowaną drabinę; gdzie śpi się prawie na wolnym powietrzu, niby sikora kołysana wiatrem na czubku promienia; — czasami pokój *Louis XVI*, tak wesoły, że nawet pierwszego wieczora nie czułem się w nim zbyt nieszczęśliwy; gdzie kolumnienki lekko podtrzymujące sufit rozchyłały się z takim wdziękiem, aby wskazywać i chronić miejsce łóżka; czasami, przeciwnie, ów pokój mały a tak wysoki, wznoszący się stożkowato na wysokość dwóch pięter i częściowo wyłożony mahoniem, gdzie od pierwszej sekundy czułem się moralnie zatruty nieznanym zapachem „bagna” przeciw molom, przekonany o wrogości fioletowych firanek i o bezczelnej obojętności zegara skrzeczącego głośno, tak jakby mnie tam nie było; — gdzie dziwaczne i bezlitosne lustro o czworograniastych nogach, zagradzając ukośnie jeden kąt pokoju, złobiło sobie nieprzewidziane miejsce w błogiej pełni mego zwykłego pola widzenia; gdzie myśl, siląc się przez godziny całe zmienić miejsce, naciągając się wzwyż, aby przybrać ściśle kształt pokoju i wypełnić go wreszcie aż do szczytu olbrzymiego leja, wycierpiała tam wiele ciężkich nocy, gdy leżałem wyciągnięty w łóżku, z podniesionymi oczami, z czujnym uchem, z opornymi nozdrzami, z bijącym sercem: dopóki wreszcie przyzwyczajenie nie zmieniło koloru firanek, nie kazało zmilczeć zegarowi, nie nauczyło litości skośnego i okrutnego lustra, nie stłumiło, o ile nie wyгнаło zupełnie, zapachu bagna i nie zmniejszyło znacznie pozornej wysokości sufitu. Przyzwyczajenie! robotnica zręczna, ale bardzo powolna, która zrazu pozwala naszemu duchowi cierpieć całe tygodnie w tymczasowej siedzibie; ale którą mimo wszystko winniśmy błogosławić, bo bez przyzwyczajenia, zdany na własne środki, duch nasz nie byłby zdolny uczynić nam żadnego mieszkania mieszkalnym.

Tak, teraz byłem już rozbudzony; ciało moje okręciło się ostatni raz i dobry anioł pewnością zatrzymał wszystko dokoła mnie, ułożył mnie pod moją kołdrą, w moim pokoju, i ustawił mniej więcej na swoim miejscu w ciemności komodę, biurko, kominek, okno na ulicę i dwoje drzwi. Ale na próżno wiedziałem, że nie znajduję się w tamtych mieszkaniach, które, w mętnej chwili przebudzenia, jeżeli nie jawiły mi się w wyraźnym obrazie, to przynajmniej pozwalały mi wierzyć w ich możliwość. Pamięć moja już działała: zazwyczaj nie starałem się usnąć natychmiast; spędzałem większą część nocy przypominając sobie dawniejsze życie, w Combray u ciotecznej babki, w Balbec, w Paryżu, w Doncieres, w Wenecji, gdzie indziej jeszcze, przypominając sobie miejsca, osoby, które tam znałem i to, com sam widział, i to, co mi o nich opowiadano.

W Combray codziennie pod wieczór, na długo zanim miałem się położyć do łóżka i pędzić bezsenne godziny z dala od matki i babki, sypialnia moja stawała się stałym i bolesnym punktem moich zainteresowań. Aby mnie rozerwać w owe wieczory, gdy miałem minę zbyt żalosa, dano mi latarnię magiczną, którą przed obiadem zakładano na lampę. Na kształt dawnych architektów i szklarzy z epoki gotyku, latarnia ta zmieniała nieprzejrzystość ścian w nieuchwytnie iryzacje, w nadprzyrodzone, wielobarwne zjawy, w których legendy malowały się niby w drgającym i ulotnym witrażu. Ale smutek mój wzrastał jedynie, bo już sama zmiana oświetlenia wystarczała, aby we mnie zniszczyć przyzwyczajenie do mego pokoju, dzięki któremu to przyzwyczajeniu, poza męką chodzenia spać, stał mi się on znośny. Teraz nie poznawałem go już, czułem się w nim niespokojny niby w pokoju hotelowym lub w obcym mieszkaniu, gdzie bym się znalazł po raz pierwszy, wysiadłszy z pociągu.

Trzęsąc się na swoim koniu, Golo, pełen okropnych zamiarów, wynurzał się z trójkątnego lasku pokrywanego aksamitną zielenią zbocze i posuwał się podskakując ku zamkowi biednej Genowefy Brabanckiej. Zamek ów ścięty był linią krzywą, będącą nie czym innym, jak tylko owalem ramy, którą wsuwało się w rowek latarni. Było to skrzydło zamku, przed nim zaś rozciągała się błoń, gdzie marzyła Genowefa, strojna w błękitny

Dziecko, Przestrzeń,  
Światło

pasek. Zamek i błon były żółte; zanim je jeszcze ujrzałem, znałem ich kolor; wcześniej bowiem niż szkło latarni, złocisto-brązowy dźwięk nazwy Brabantu objawił mi to nieomylnie. Golo zatrzymał się chwilę, aby melancholijnie słuchać komentarza czytanego przez moją cioteczną babkę (dla uproszczenia będę ją nazywał ciotką), tak jakby go rozumiał doskonale, dostrajając do objaśnień tekstu swoją pozę, z powolnością niepozbawioną majestatu; po czym oddalał się tym samym nierównym krokiem. I nic nie mogło powstrzymać jego powolnej wędrówki. Kiedy się ruszyło latarnię, widziałem konia Gola, jak dalej sunął po firankach, wzdymając się ich fałdami, wciskając się w ich załamania. Ciało samego Gola, z materii równie nadprzyrodzonej co materia jego konia, dawało sobie radę z wszelką rzeczą przeszkodą, z wszelkim spotkanym w drodze przedmiotem, czyniąc zeń sobie kościół i wchłaniając go, choćby to była klamka u drzwi, na której oblepiała się natychmiast i wypływała niezwykłe jego czerwona szata albo jego biała twarz, zawsze jednak szlachetna i melancholijna, ale niezdradzająca żadnego wzruszenia tą transwertebacją.

Niewątpliwie miały dla mnie urok owe lśniące projekcje, które zdawały się wylaniać z przeszłości Merowingów i snuły dokoła mnie tak dawne odblaski historii. Ale nie umiem powiedzieć, jak nieswojo działało na mnie to wkroczenie tajemnicy i piękności w pokój, który zdołałem wypełnić swoim *ja* tak, iż nie więcej zwracałem uwagę na niego niż na samego siebie. Skoro ustało znieczulające działanie nawyku, zaczynałem myśleć, czuć: — rzeczy tak smutne... Klamka, która różniła się dla mnie od wszystkich innych klamek tym, że otwierała się jak gdyby sama, bez konieczności mojego udziału (tak dalece nacinanie jej stało mi się bezwiedne), służyła oto teraz za ciało astralne dla Gola. I z chwilą, gdy dzwoniło na obiad, spieszo mi było biec do jadalni, gdzie wielka wisząca lampa — która nie znała Gola ani Sinobrodego, a znała rodziców i pieczeń duszoną — rzucała swoje cowieczorowe światło; i spieszo mi było wpaść w ramiona mamy, którą nieszczęścia Genowefy Brabanckiej czyniły mi tym droższą, gdy zbrodnie Gola kazały mi tym skrupulatniej badać własne sumienie.

Po obiedzie, niestety, trzeba mi było niebawem opuścić mamę, która zostawała, aby rozmawiać z innymi w ogrodzie, jeżeli było ładnie, lub w saloniku, gdzie wszyscy się skupiali, o ile był deszcz. Wszyscy, z wyjątkiem babki, która uważała, że „to litość bierze, żeby siedzieć w zamknięciu na wsi” i w dniu nazbyt wielkiej słoty miała nieustanne zatargi z ojcem, ponieważ ojciec wysyłał mnie, abym szedł czytać do pokoju zamiast zostawać na dworze. „To nie jest sposób, aby dziecko wyrosło silne i energiczne, mówiła smutno; — zwłaszcza ten mały, który tak potrzebuje sił i woli”. Ojciec wzruszał ramionami i spoglądał na barometr, bo lubił meteorologię, gdy matka, starając się nie robić hałasu, aby mu nie przeszkadzać, patrzyła nań z tkliwym szacunkiem, ale niezbyt usilnie, aby się nie starać przeniknąć tajemnicy jego wyższości. Ale co się tyczy babki, w każdą pogodę, nawet kiedy lało jak z cebra i kiedy Franciszka spiesznie wносиła szacowne fotele trzcinowe z obawy, aby nie zmokły, widziało się ją w pustym i smaganym ulewą ogrodzie, jak odgarnia rozrzucone siwe kosmyki, iżby czoło jej lepiej nasiąkło zbawiennym wiatrem i deszczem. Powiadała: „Nareszcie się oddycha!” i przebiegała ociekającą wodą aleje — zbyt symetrycznie, jak na jej gust, wytyczone przez nowego (a pozbawionego poczucia przyrody) ogrodnika, którego ojciec pytał od rana, czy się wypogodzi. Szła swoim drobnym krokiem, entuzjastycznym i nerwowym, zależnym od różnych podniet, jakie rodziły w jej duszy upojenie burzą, potęga higieny, niedorzeczność mojego wychowania oraz symetria ogrodu, raczej niż nieznaną jej troską, aby fioletowej spódnicy oszczędzić plam błota pokrywających ją do wysokości, która zawsze była dla pokojówki w równym stopniu rozpaczą jak zagadką.

Kiedy ten spacer babki odbywał się po obiedzie, jedna jedyna rzecz mogła ją ściągnąć do pokoju. W chwili, gdy krąg przechadzki sprowadzał ją periodycznie, niby owada, naprzeciw oświetlonego saloniku, gdzie stały likiery na stoliku do gry — wystarczało, żeby ciotka krzyknęła: „Batyldo! chodźże, nie pozwól, aby twój mąż pił koniak!” W istocie, aby podrażnić swoją kuzynkę (babka wniosła w rodzinę ojca naturę tak odmienną, że wszyscy z niej żartowali i dręczyli ją), ponieważ alkohol był dziadkowi wzbroniony, ciotka dawała mu napić się kilka kropel. Biedna babka wchodziła, prosiła gorąco męża, aby nie tykał koniak; gniewał się, wypijał mimo to swój lyczek, a babka odchodziła smutna, zniechęcona, ale uśmiechnięta, bo była tak pokorna sercem i tak słodka, że jej tkliwość

Strój, Błoto, Śluga

Okrucieństwo

dla drugich, jej mała dbałość o własną osobę i o własne bóle, spływały się w jej spojrzeniu w uśmiech. W uśmiechu babki — na wspak temu, co się widzi u wielu osób — była ironia tylko dla niej samej, a dla nas wszystkich jakby pocałunek oczu, niezdolnych widzieć tych; których kochała, bez gorącego ich upieszczenia wzrokiem. Męka, którą jej zadawała ciotka, widok daremnych próśb babki i jej bezsilnej walki, gdy na próżno starała się odebrać dziadkowi kieliszek, to były rzeczy, do których człowiek przyzwyczaja się z czasem, patrzy na nie śmiejąc się i wesoło bierze stronę prześladowcy, nie chcąc wierzyć w fakt prześladowania; ale wówczas przejmowały mnie taką grozą, że byłbym chętnie wybił ciotkę. Ale kiedyś usłyszałem: „Batyldo, chodźże, nie daj mężowi koniaku”, wówczas, z tchórzostwem już typowo męskim, robiłem to, co robimy my wszyscy, dorośli, kiedy się zetknijemy z cierpieniem i niesprawiedliwością: nie chciałem ich widzieć; biegłem szlochać na sam szczyt domu, koło pokoju szkolnego, pod dach, do małej ubikacji pachnącej irysem, której przydawała woni dzika porzeczka wyrosła zewnątrz w szczelinie muru i wsuwająca kwitnącą gałązkę przez uchylone okno. Przeznaczona na użytek bardziej specjalny i bardziej pospolity, ubikacja ta, z której w dzień widać było aż po zamek w Roussainville-le-Pin, długo służyła mi za schronienie — z pewnością dlatego, że była jedyną, którą wolno mi było zamykać na klucz — dla wszystkich zajęć wymagających nienaruszalnej samotności, jak: czytanie, marzenie, łzy i rozkosz. Niestety! nie wiedziałem, że o wiele smutniej niż drobne wybryki dietetyczne męża, mój brak woli, moje wątpliwe zdrowie, niepewność, jaką była zasnutą moja przyszłość, pochłaniały babkę w czasie tych nieustannych popołudniowych i wieczornych wędrówek. I widziało się ją, jak chodzi tam i z powrotem z podniesioną ku niebu piękną twarzą o smagłych i pooranych policzkach, pociemniałych z wiekiem niby pola w jesieni, przeciętych, gdy wychodziła na miasto, w pół podniesioną woalką; a na nich, sprowadzone zimnem lub jakąś smutną myślą, zawsze obsychały mimowolne łzy.

Jedyną moją pociechą, kiedy siedłem się kłaść, była nadzieja, że mama przyjdzie mnie uściskać, skoro będę w łóżku. Ale to dobranoc trwało tak krótko, mama wracała tak prędko na dół, że chwila, w której słyszałem, jak lekki szelest jej niebieskiej muślinowej sukni zbliżyła się do mnie, potem mijają korytarz z podwójnymi drzwiami, był dla mnie chwilą bolesną. Chwila ta zwiastowała ową drugą, która miała po niej nastąpić: gdy mama mnie opuści, gdy zejdzie z powrotem na dół. Dochodziłem do pragnienia, aby to dobranoc, które tak lubiłem, przyszło jak najpóźniej; aby się przeciągał czas, gdy mama jeszcze nie przyszła. Czasami, kiedy uściskawszy mnie otwierała drzwi, aby odejść, chciałem ją zawołać, powiedzieć „pocałuj mnie raz jeszcze”; ale wiedziałem, że natychmiast przybierze wyraz niezadowolnienia, bo ustępstwo, jakie czyniła dla mego smutku i niepokoju, zachodząc mnie uściskać, przynosząc mi ten pocałunek ukojenia, drażniło ojca, któremu te obrzędy wydawały się niedorzeczne. Toteż mama byłaby chciała wytępić we mnie tę potrzebę, to przyzwyczajenie, raczej niż uprawnić żądanie jeszcze jednego pocałunku wówczas, kiedy już była w progu. Otóż widzieć ją zmartwioną, to niweczyło cały spokój, jaki mi przyniosła na chwilę przedtem, Kiedy nachyliła do łóżka swoją kochającą twarz i podała mi ją jak hostię — komunię pokoju — w której wargi moje miały zaczerpnąć jej rzeczywistą obecność oraz moją możliwość zaśnięcia.

Ale owe wieczory, gdy mama w sumie tak krótko zostawała w moim pokoju, były jeszcze bardzo słodkie w porównaniu z wieczorami, kiedy byli na obiedzie goście i kiedy z tego powodu mama nie zachodziła na dobranoc. Goście ograniczali się zazwyczaj do pana Swanna, który, poza paroma przygodnymi znajomymi, był prawie jedyną osobą, odwiedzającą nas w Combray. Czasem przychodził na sąsiedzki obiad (rzadziej od czasu, kiedy się ożenił tak niewłaściwie, bo rodzice nie chcieli przyjmować jego żony), czasem po obiedzie, niespodzianie. W dniu, kiedy, siedząc wieczór przed domem pod wielkim kasztanem, dokoła żelaznego stołu, usłyszeliśmy na końcu ogrodu nie ów obfity i krzykliwy dzwonek, który skrapiał i wstrząsał nagle metalowym, przeciągłym i zimnym hałasem każdego domownika, gdy ów rozpętał go wchodząc „bez dzwonięcia”, ale podwójny, nieśmiały, owalny i złożony dźwięk dzwonka dla obcych, natychmiast wszyscy się pytali: „Wizyta, kto to może być?”, ale wiedzieli dobrze, że to może być tylko pan Swann. Ciotka, mówiąc dla przykładu głośno, tonem, który starała się uczynić naturalnym, upominała, żeby tak nie szeptać; że nic nie jest równie przykre dla gościa, który wyobraża sobie, że właśnie się mówiło rzeczy nieprzeznaczone dla jego uszu; i posyłało

Starość, Kobieta, Uroda

Matka, Dziecko, Pocałunek,  
Rozstanie, Samotność

Gość, Obrzędy

na zwiady babkę, szczęśliwą że ma pretekst do przebieżenia ogrodu raz jeszcze. Idąc, wrywała ukradkiem parę podpórek, aby przywrócić różom trochę naturalności, jak matka, gdy, chcąc sfalować nieco czuprynę syna, przeciąga ręką po włosach, które fryzjer zanadto wygładził.

Czekaliśmy z napięciem nowin, które babka miała nam przynieść o nieprzyjacielu, tak jakby można było się wahać między mnogością domniemyanych napastników; ale tuż potem dziadek mówił: „Poznaję głos Swanna”. Poznawało się go w istocie tylko po głosie; ponieważ, bojąc się komarów, paliliśmy w ogrodzie jak najmniej światła, zaledwie można było rozróżnić jego twarz o garbatym nosie, o zielonych oczach pod wysokim czołem i włosami blond, niemal rudymi, uczesanymi *à la* Bressant. Szedłem nieznacznie powiedzieć, aby podano likiery; babka przywiązywała do tego wagę, uważając że tak jest grzeczniej, aby się nie wydawało, że zjawiają się jakby wyjątkowo, specjalnie dla gości. Swann, mimo że o wiele młodszy, żył z dziadkiem bardzo serdecznie; dziadek był swego czasu jednym z najlepszych przyjaciół jego ojca, zacnego człowieka, ale oryginała, któremu, zdaje się, lada drobnostka wystarczała niekiedy, aby zmącić odruchy serca, zmienić bieg myśli. Słyszałem wiele razy w roku, jak dziadek opowiadał przy stole anegdota — zawsze te same — o zachowaniu się starego Swanna przy śmierci żony, przy której czuwał dzień i noc. Dziadek, który go nie widział od dawna, pobiegł doń do posiadłości, którą Swannowie mieli w pobliżu Combray i aby mu oszczędzić momentu wkładania ciała do trumny, zdołał go zapłakanego wyciągnąć ze śmiertelnego pokoju. Przeszli kilka kroków w parku, gdzie było trochę słońca. Naraz Swann, ujmując dziadka pod ramię, wykrzyknął:

— A! stary przyjacielu, co to za szczęście przechadzać się razem w tę piękną pogodę. Nie uważasz, że to jest ładne, wszystkie te drzewa, te głogi, i ten staw, którego mi jeszcze nigdy nie wieszowałeś? Wyglądasz jak stara szlafmyca. Czujesz ten wietrzyk? Ach, niech gadają co chcą, drogi Amadeuszu, życie ma swój urok!

Naraz odzyskał pamięć zmarłej żony, i uważając z pewnością za nazbyt skomplikowane dochodzić, jak mógł w podobnej chwili poddać się odruchowi radości, przeciągnął tylko ręką po czole, gestem właściwym mu za każdym razem, kiedy się nastroczała jakaś trudna kwestia, osuszył oczy i przetarł binokle. Ale nie mógł się pocieszyć po stracie żony i w ciągu dwóch lat, o które ją przeżył, powiadał do dziadka:

— To śmieszne, bardzo często myślę o biednej żonie, ale nie mogę myśleć o niej dużo naraz.

„Często, ale nie dużo naraz, jak dobry stary Swann”, stało się jednym z ulubionych zdań dziadka, który wygłaszał je z powodu rzeczy bardzo rozmaitych. Byłbym uważał, że ten ojciec Swanna był potworem, gdyby dziadek, którego miałem za lepszego sędziego i którego zdanie, będąc dla mnie wyrocznią, często pomogło mi później rozgrzeszyć cudze błędy, nie był się okrzyknął:

— Ale skądże, to było złote serce!

Przez wiele lat, w których wszakże, zwłaszcza przed swoim małżeństwem, Swann *junior* często odwiedzał nas w Combray, ciotka i dziadkowie nie domyślali się, że on zgoła nie żyje w dawnej sferze swojej rodziny. Nie wiedzieli, iż pod rodzajem inkognita, jakie Swann zawdzięczał u nas swemu nazwisku, goszczą — z cudowną niewinnością zacnych hotelarzy, którzy, nie wiedząc o tym, dają schronienie sławnemu bandycie — jednego z najwytworniejszych członków Jockey-Clubu, ulubieńca hrabiego Paryża i księcia Walii, jednego z ludzi najbardziej rozrywanych przez arystokratyczne Faubourg Saint-Germain.

Nasza nieświadomość owego błyszczącego życia światowego, które pędził Swann, wynikała niewątpliwie z niesклонnej do wynurzeń dyskrekcji jego charakteru, ale także stąd, że ówczesni mieszcianie mieli o społeczeństwie pojęcia nieco hinduskie i uważali je za system zamkniętych kast, gdzie każdy od urodzenia mieści się w sferze wziętej w spadku po rodzicach, skąd nic, poza trafem wyjątkowej kariery lub nieoczekiwanego małżeństwa, nie może go wydobyć i przenieść do wyższej kasty. Stary Swann był agentem giełdowym: „młody Swann” zdawał się wiekuiście skazany na kastę, w której majątki, niby w danej kategorii podatników, wahają się między takim a takim dochodem. Znano stosunki jego ojca, wiedziano tedy, jakie są stosunki syna i z jakimi osobami jego „sytuacja” pozwala mu przestawać. Jeżeli znał inne osoby, były to znajomości młodego człowieka, na które dawni przyjaciele rodziny — jak moi rodzice — przymykali oczy tym pobłażliwiej, ile że,

Mąż, Żona, Śmierć, Żaloba,  
Rozpacz, Kondycja ludzka

Pozycja społeczna,  
Obyczaje, Mieszczanin

od czasu jak był sierotą, odwiedzał nas nadal bardzo wiernie; ale można było iść o zakład, że ci nieznanymi nam jego znajomi są z rzędu tych, którym nie śmiałyby się ukłonić, gdyby ich spotkał, będąc w naszym towarzystwie.

Gdyby się chciało koniecznie zastosować do Swanna jakiś współczynnik społeczny, wyróżniający go z pomiędzy innych synów agentów giełdowych na równym mniej więcej poziomie, współczynnik ten byłby dlań trochę niższy, ponieważ Swann, bardzo prosty w sposobie życia i zawsze trochę „zwariowany” na punkcie starożytności i obrazów, mieszkał obecnie w starym domu, gdzie skupiał swoje kolekcje; w domu, o którego zwiedzeniu marzyła moja babka, ale który znajdował się przy Quai d’Orléans, w dzielnicy, gdzie, zdaniem ciotki, mieszkać było kompromitacją.

— Czy pan się zna choć na tym? Pytam pana w jego własnym interesie, bo handlarze muszą panu wpychać śmieci, mówiła do Swanna moja ciotka; nie przypisywała mu w istocie żadnej kompetencji i nie miała wysokiego pojęcia nawet o intelekcie człowieka, który w rozmowie unikał poważnych tematów i okazywał nader prozaiczną ścisłość, nie tylko, kiedy nam dawał, wchodząc w najmniejsze szczegóły, przepisy kucharskie, ale nawet kiedy siostry babki poruszały tematy artystyczne. Prowokowany przez nie do wydania sądu, do wyrażenia podziwu dla jakiegoś obrazu, zachowywał milczenie prawie niegrzeczne, odbijając to sobie, kiedy mógł dać konkretne informacje o muzeum, gdzie się ów obraz znajduje, lub o dacie jego powstania. Ale zazwyczaj starał się nas po prostu zabawić, opowiadając za każdym razem nową historyjkę, która mu się zdarzyła z ludźmi z naszego kręgu znajomych: z aptekarzem z Combray, z kucharką, z woźnicą. Opowiadania te pobudzały zawsze do śmiechu ciotkę, ale nie rozróżniała dobrze, czy to z powodu pociesznej roli, jaką w nich sobie zawsze dawał Swann, czy też z przyczyny dowcipu, jakim je zaprawiał.

— Trzeba panu przyznać, że pan jest dobra figura, panie Swann! — mówiła.

Ponieważ była w naszej rodzinie jedyną osobą trochę pospolitą, nigdy, kiedy mówiła do kogoś obcego o Swannie, nie omieszkła zaznaczyć, że on, gdyby chciał, mógłby mieszkać przy *Boulevard Hausmann* albo przy *Avenue de l’Opéra*, że jest synem starego Swanna, który musiał mu zostawić cztery czy pięć milionów, ale że taki ma kaprys. Kaprys ten wydawał się jej tak uciechowy, że w Paryżu, kiedy Swann przychodził w dzień Nowego Roku, aby jej przynieść tradycyjną torebkę kasztanów w cukrze, nie omieszkła nigdy, o ile byli goście, zagadnąć go:

— No i co, panie Swann, zawsze pan mieszka blisko hali win dla pewności, że się pan nie spóźni na kolej, gdyby pan jechał do Lyonu?

I poprzez okulary patrzyła spod oka na gości.

Ale gdyby ktoś powiedział ciotce, że ten Swann, mający, jako syn starego Swanna, wszystkie dane na to, aby bywać w całym wysokim mieszczaństwie, u najszanowniejszych paryskich rejentów i adwokatów (przywilej, z którego nie zdawał się zbyt korzystać), prowadzi, jakby w sekrecie, życie zgoła odmienne; że, wychodząc od nas w Paryżu, powiedziawszy, że idzie do domu spać, skręca na pierwszym rogu i udaje się do jakiegoś salonu, którego nie oglądała nigdy oko żadnego agenta giełdowego ani jego współnika, wydawałoby się to jej tak niesłychane, jakby się bardziej czytanej damie wydała myśl, że mogłaby być w osobistych stosunkach z Arysteuszem<sup>4</sup>, i dowiedzieć się iż, porozmawiawszy z nią, ów idzie się zanurzyć w królestwo Tetydy<sup>5</sup>, w niewidzialne oczom śmiertelnych państwo, gdzie — jak opowiada Wiergiliusz — przyjmują go z otwartymi ramionami; lub — aby się trzymać obrazu przystępniejszego dla ciotki, bo oglądała go na małych talerzykach w Combray — że miała u siebie na obiedzie Ali Babę, który, kiedy się znajdzie sam, zstąpi do groty olśniewającej niepodejrzewanymi skarbami.

Jednego dnia w Paryżu, kiedy Swann zaszedł do nas po obiedzie, tłumacząc się, że jest we fraku, Franciszka przyniosła po jego odejściu wiadomość zaczerpniętą od stangreta, że był na obiedzie „u jakiejś pryncesy”. — Tak, pryncesy z półświatka! — odparła ciotka, wzruszając ramionami z pogodną ironią i nie podnosząc oczu od robótki.

Toteż ciotka nie robiła z nim sobie ceremonii. Ponieważ sądziła, że jemu musi pochlebiać bywanie u nas, uważała za bardzo naturalne, że nie zjawia się u nas w lecie bez

<sup>4</sup>Arysteusz (mit. gr.) — syn Apolla; bóg rolnictwa i hodowców zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Tetyda (mit. gr.) — tytania, córka Uranosa, bogini morza, uosobienie jego siły rozrodczej. [przypis edytorski]

Dom, Pozycja społeczna

Pozycja społeczna,  
Mieszczanin



koszyka brzoskwiń albo malin ze swego ogrodu i że z każdej podróży do Włoch przywozi mi fotografie arcydzieł.

Nie robiono sobie skrupułów, aby wezwać Swanna, gdy się potrzebowało recepty na sos genewski albo na sałatę z ananasów przed jakimś ceremonialnym obiadem, na który się go nie prosiło, nie uważając go za godnego pokazania gościom, którzy byli u nas po raz pierwszy. Jeżeli rozmowa zesła przypadkiem na ksiąząt domu Francuskiego: „figury, których nie będziemy znali nigdy, ani pan ani ja, i obejdziemy się bez tego, nieprawdaż”, powiadła ciotka do Swanna, który może miał w kieszeni list z Twickenham; kazała mu przesuwać fortepian i obracać nuty gdy siostra babki śpiewała, traktując tego człowieka, gdzie indziej tak poszukiwanego, z naiwną bezceremonialnością dziecka, które bawi się rzadkim bibelotem niby groszową zabawką. Bez wątpienia Swann, którego znało w owej epoce tylu clubmenów, był bardzo różny od tego, którego stwarzała sobie ciotka, kiedy wieczorem w ogródku w Combray, skoro się rozległy dwa nieśmiałe dzwonki, stroiła wszystkim, co wiedziała o rodzinie Swannów mającą w mroku osobistość, która się wylaniała z ciemności, poprzedzając babkę i dając się poznać po głosie. Ale nawet z punktu widzenia najmniej znaczących rzeczy, nie jesteśmy całością materialnie ukształtowaną, tożsamą dla wszystkich, którą każdy może po prostu sprawdzić niby hipotekę lub testament; nasza społeczna osobowość jest tworem cudzej myśli. Nawet akt tak prosty, który zwiemy „widzieć znajomą osobę”, jest po części aktem intelektualnym. Pozór fizyczny widzianej osoby wypełniamy wszystkimi pojęciami, które mamy o niej; a w ogólnym kształcie, jaki sobie tworzymy, pojęcia te mają z pewnością największy udział. W końcu wydymają tak dokładnie policzki, tak ściśle pokrywają się z linią nosa, tak skutecznie barwią dźwięk głosu, jak gdyby ów głos był jedynie przezroczystą powłoką, iż za każdym razem, kiedy widzimy tę twarz i słyszymy ten głos, odnajdujemy te właśnie pojęcia, słyszymy je. Bez wątpienia w Swanna, którego sobie stworzyli, rodzice moi zaniedbali przez niewiedzę wprowadzić mnóstwo właściwości jego życia światowego, będących przyczyną, że inne osoby, znalazłszy się w towarzystwie tegoż Swanna, widziały wytworność jego fizjonomii, kończącą się na garbatym nosie niby na swojej naturalnej granicy. W zamian za to na tej twarzy odartej ze swego uroku, pustej i przestronnej, w głębi tych zdewaluowanych oczu, rodzice moi i krewni mogli odnaleźć mętny i łagodny osad — wpół pamięć, wpół zapomnienie — leniwych godzin spędzonych wspólnie po wiejskim obiedzie, dokoła karcianego stolika lub w ogrodzie, w epoce naszych sąsiedzkich stosunków. Cieleśna powłoka naszego Swanna była nimi wypchana tak szczelnie — zarówno jak wspomnieniami tyjącymi jego rodziców — że ten Swann stał się istotą pełną i żywą. W istocie mam wrażenie jakbym opuszczał jedną osobę, aby się udać do drugiej, całkowicie od niej różnej, kiedy w mojej pamięci od Swanna, którego znałem dokładnie później, przechodzę do pierwszego Swanna — do tego pierwszego Swanna, w którym odnajduję urocze błędy własnej młodości i który zresztą mniej jest podobny do tamtego niż do osób znanych mi w tym samym czasie; jak gdyby nasze życie było niby muzeum, gdzie wszystkie portrety z jednej epoki mają rodzinne podobieństwo, jakąś wspólną tonację; — do tego pierwszego Swanna, nasyconego wywczasem, nasiąkłego wonią wielkiego kasztana, korszów truskawek i odrobiną estragonu.

Jednakże, pewnego dnia, kiedy babka poszła prosić o jakąś przysługę damy, którą znała w Sacré-Coeur (i z którą z powodu naszych pojęć o kastach nie zachowała stosunków mimo wzajemnej sympatii), margrabiny de Villeparisis ze sławnego domu Bouillon, owa dama rzekła: „Zdaje mi się, że pani zna dobrze pana Swann, który jest wielkim przyjacielem moich kuzynów des Laumes”. Babka wróciła z wizyty zachwycona domem otoczonym ogrodami, gdzie pani de Villeparisis radziła jej wynająć mieszkanie, a także pewnym drobnym krawcem i jego córką, do którego warsztatu w podwórzu wstąpiła z prośbą, aby jej naprędce zaszyto spódnicę rozdartą na schodach. Ci ludzie wydali się babce przemili; oznajmiła, że ta mała to jest istna perła, a krawiec najdystyngowańszy i najprzystwoitszy człowiek, jakiego kiedy widziała. Bo dla niej dystynkcja była czymś zupełnie niezależnym od rangi społecznej. Rozpływając się przed mamą nad jakąś odpowiedzią krawca, rzekła: „Seigné nie byłaby tego wyraziła lepiej!” — a w zamian za to, o siostrzeńcu pani de Villeparisis, którego u niej spotkała: „Och, moje dziecko, jakież on pospolity!”.

Kondycja ludzka

Pozycja społeczna,  
Mieszczanin

Otóż to powiedzenie o Swannie miało skutek nie ten, żeby podniosło Swanna w oczach ciotki, ale ten, że obniżyło w nich panią de Villeparisis. Zdawałoby się, że szacunek, jakim na wiarę babki darzyliśmy panią de Villeparisis, nakładał na nią obowiązek nie robienia niczego, co by ją czyniło mniej godną szacunku. Temu obowiązkowi uchybiła, przyjmując do wiadomości istnienie Swanna i pozwalając swoim krewnym przestawać z nim.

— Skąd ona może znać Swanna? No, wiesz, jak na osobę, o której mówiłaś, że jest krewną marszałka de Mac-Mahon!

Ta opinia mojej rodziny o stosunkach Swanna znalazła później rzekome potwierdzenie w jego małżeństwie z osobą najgorszego towarzystwa, prawie kokotą, której zresztą Swann nigdy nie silił się nam przedstawić, nadal przychodząc do nas sam, mimo że coraz rzadziej. Wedle tej żony rodzina moja uważała, iż ma prawo sądzić — przypuszczając, że tam ją znalazł — o nieznanym nam środowisku, w którym Swann obracał się zwyczajnie.

Ale jednego razu dziadek przeczytał w gazecie, że Swann jest jednym ze stałych gości na śniadaniach niedzielnych u księcia de X..., którego ojciec i stryj byli najwybitniejszymi mężami stanu za Ludwika Filipa. Otóż dziadek był ciekawy wszystkich drobnych faktów, zdolnych dopomóc mu do wniknięcia myślą w prywatne życie ludzi takich jak Molé, jak książę Pasquier, jak książę de Broglie. Zachwycony był wiadomością, że Swann bywa u osób, którzy ich znali. Przeciwnie, ciotka wyłożyła sobie tę wiadomość w sensie ujemnym dla Swanna; ktoś, kto szukał znajomości poza kastą, w której się urodził, poza swoją „klasą”, deklasował się dotkliwie w jej oczach. Zdawało się jej, że taki człowiek wyrzeka się nagle owocu wszystkich swoich chlubnych stosunków z ludźmi dobrze sytuowanymi; stosunków szacunkowo podtrzymywanych i gromadzonych dla swoich dzieci przez przewidujące rodziny. (Swojego czasu ciotka zerwała wręcz znajomość z synem zaprzyjaźnionego z nami rejenta, ponieważ ożenił się z księżniczką krwi i tym samym spadł dla niej z szanowanej rangi syna rejenta, do rzędu owych awanturników, ex-lokajów lub masztalerzy, których, jak mówią, królowe obdarzały czasem swoimi łaskami). Zganiła zamiar dziadka, który chciał przy najbliższej sposobności zapytać Swanna o owych jego świeżo odkrytych przyjaciół. Z drugiej strony dwie siostry babki, obdarzone jej szlachetną naturą, ale bez jej inteligencji, oświadczyły, że nie rozumieją przyjemności, jaką szwagier może znajdować w rozmowie o podobnych głupstwach. Były to osoby o wyższych aspiracjach, tym samym niezdolne interesować się tym, co się nazywa plotką, — nawet plotką o charakterze historycznym — i w ogóle niczym, co nie łączyło się wprost z jakim estetycznym lub cnotliwym przedmiotem. W stosunku do wszystkiego, co z daleka lub z bliska wiązało się z życiem światowym, obojętność ich była taka, że ich zmysł słuchu — zrozumiawszy wreszcie swą czasową bezużyteczność z chwilą, gdy przy obiedzie rozmowa przybierała charakter płochy lub bodaj przyziemny, a stare panny nie mogły jej sprowadzić do ulubionych tematów — zawieszał swoje aparaty odbiorcze i ulegał jak gdyby atrofii. Jeżeli wówczas dziadek chciał ściągnąć uwagę szwagierek, musiał się uciekać do owych wstrząsów fizycznych, którymi posługują się psychiatrzy wobec cierpiących na roztargnienie maniaków: kilkakrotne uderzenie nożem w szklanę, połączone z nagłym podniesieniem głosu i bystrym spojrzeniem. (Gwałtowne te środki psychiatrzy przenoszą często na zwykłe stosunki ze zdrowymi, bądź przez nawyk zawodowy, bądź że uważają wszystkich ludzi po trosze za wariatów.)

Bardziej obudziła zainteresowanie starych pań następująca okoliczność. W wilię pewnego dnia, kiedy Swann miał przyjść, przesłał specjalnie dla nich skrzynkę wina Asti. Równocześnie ciotka, trzymając numer *Figara*, gdzie, obok podpisu pod obrazem z wystawy Corota, widniały słowa: „Ze zbiorów pana Karola Swann”, rzekła:

— Wiecie, że Swann figuruje na łamach *Figara*?

— Ależ ja zawsze mówiłam, że on ma wiele smaku — rzekła babka.

— Oczywiście ty, skoro chodzi o to, aby być innego zdania od *nas*... — odparła ciotka, która, wiedząc że babka nigdy nie jest jednego zdania z nią i nie będąc pewna, czy my zawsze ciotce przyznajemy rację, chciała z nas wyłudzić ryczałtowe potępienie poglądów babki, przeciw którym starała się nas siłą zsolidaryzować. Ale myśmy milczeli. Kiedy siostry babki objawiły zamiar wspomnienia w obecności Swanna o tej notatce w *Figarze*, ciotka odradziła im. Za każdym razem, kiedy widziała czyjaś korzyść — choćby najmniejszą — której nie posiadała, wmawiała w siebie, że to nie jest korzyść, ale upośledzenie, i żalowała tej osoby, aby jej nie musieć zazdrościć.

Pozycja społeczna,  
Mieszczanin

Zazdrość

— Ja myślę, że nie zrobiliście mi przyjemności; co się mnie tyczy, wiem, że byłoby mi bardzo niemiło widzieć swoje nazwisko tak żywcem w gazecie i wcale bym nie lubiła, żeby mi kto o tym mówił.

Nie siliła się zresztą przekonywać ich, bo stare panny przez wstręt do pospolitości tak daleko posuwały sztukę spowijania aluzji osobistych w przemysłne peryfrazy, że aluzja przechodziła często niepostrzeżona nawet przez tę osobę, do której się zwracała. Co do mojej matki, myślała jedynie o tym, aby uzyskać od ojca pozwolenie natrącenia Swannowi nie o żonie, ale o córce, którą ubóstwiał i dla której podobno w końcu zawarł to małżeństwo.

— Mógłbyś mu rzec o niej słówko, spytać, jak się miewa. To musi być dla mego takie okrutne.

Ale ojciec gniewał się: — Ależ nie! ty masz niedorzeczne pomysły. Toby było śmieszne.

Ale jedyną osobą, dla której przybycie Swanna stanowiło bolesne przejście, byłem ja. Bo w owe wieczory, kiedy obcy lub tylko pan Swann byli u nas, mama nie zachodziła do mego pokoju. Nie jadłem przy stole, przychodziłem po obiedzie do ogrodu, a o dziewiątej mówiłem dobranoc i szedłem spać. Jadłem przed wszystkimi, później siedziałem przy stole do ósmej, o której to godzinie było przyjęte, że mam iść do siebie; ten cenny i delikatny pocałunek, który mama powierzała mi zazwyczaj w łóżku w chwili, gdym usypiał, musiałem nieść z jadalni do swego pokoju i przechować przez cały czas rozbierania się, tak aby nie prysła jego słodycz, aby się nie rozlała i nie ulotniła jego esencja. I właśnie w dniu, w które potrzebowałbym przyjąć ten pocałunek najostrożniej, trzeba mi było go brać, chwytając nagle, publicznie, nie mając nawet czasu i swobody ducha, aby skupić całą uwagę na tym, co robiłem, na kształt owych maniaków, którzy siłą się nie myśleć o niczym innym, gdy zamykają drzwi, aby, kiedy im wróci chorobliwa niepewność, móc jej zwycięsko przeciwstawić pamięć chwili, w której je zamknęli.

Byliśmy wszyscy w ogrodzie, kiedy rozległy się dwa niepewne dzwonki. Wiadomo było, że to Swann; mimo to wszyscy spojrzeli po sobie pytająco: posłano babkę na zwiady.

— Pamiętacie podziękować mu zrozumiale za wino; wiecie, że jest wyborne, a skrzynia jest olbrzymia — rzekł dziadek do szwagierek.

— Nie zaczynajcie znów szeptać — rzekła ciotka. — Jakie to miłe, znaleźć się w domu, gdzie wszyscy mówią szeptem!

— A! oto pan Swann. Zapytamy go, czy sądzi, że jutro będzie ładnie — rzekł ojciec.

Matka myślała, że jedno jej słowo mogłoby zatrzeć wszystkie przykrości, jakich w naszej rodzinie mógł doznać Swann od czasu swego małżeństwa. Znalazła sposób, aby go wziąć trochę na bok. Ale ja szedłem za nią, nie mogłem się zdobyć na to, żeby ją opuścić na krok, myśląc, że za chwilę trzeba mi będzie zostawić mamę w jadalni i iść do swego pokoju bez nadziei uzyskania, jak w inne wieczory, tej pociechy, że mnie przyjdzie uściskać.

— Proszę, panie Swann — rzekła — niech mi pan powie coś o córce; jestem pewna, że już ma zamiłowanie do pięknych rzeczy, jak jej tatuś.

— Ależ chodźcie usiąść ze wszystkimi na werandzie — rzekł dziadek.

Matka musiała przerwać, ale nawet z tego przymusu wydobyła jedną delikatną myśl więcej, jak dobry poeta, któremu tyrania rymu każe znajdować największe piękności:

— Pomówimy o niej, kiedy będziemy sami — rzekła półgłosem do Swanna. — Jedynie mamusia godna jest pana zrozumieć. Jestem pewna, że jej mamusia byłaby mojego zdania.

Usiedliśmy wszyscy dokoła żelaznego stołu. Byłbym chciał nie myśleć o godzinach tortury, jakie spędzę sam w swoim pokoju, nie mogąc usnąć; starałem się wytłumaczyć sobie, że nie mają żadnego znaczenia, skoro zapomnę ich jutro rano; siliłem się uczyć myśli o przyszłości, które by mnie zaprowadziły, niby most, poza bliską i przerażającą mnie otchłań. Ale mój napięty troską duch, stawszy się wypukły jak spojrzenie, które wlepiąłem w matkę, nie przepuszczał żadnego obcego wrażenia. Myśli wchodziły doń, ale pod warunkiem, że zostawią zewnątrz wszelki element piękna lub bodaj komizmu, który by mnie wzruszył lub rozbawił. Jak chory, który, dzięki środkowi znieczulającemu, jest świadomie, ale nic nie czując, świadkiem dokonywanej na nim operacji, mogłem sobie przepowiadać ulubione wiersze lub śledzić wysiłki, jakie czynił dziadek, aby naprowadzić

Gość, Dziecko, Matka, Syn,  
Obyczaj

Dziecko, Matka, Syn,  
Cierpienie, Samotność,  
Otchłań

Swanna na rozmowę o księciu d'Audiffret-Pasquier, przy czym wiersze nie przynosiły mi żadnego wzruszenia, a owe próby dziadka żadnej wesołości.

Wysiłki te były bezowocne. Ledwie dziadek zadał Swannowi pytanie dotyczące owego mówcy, kiedy jedna z siostr babcynych, w której uszach pytanie to zabrzmiało niby milczenie głębokie, ale niewczesne, wymagające tego, aby je przerwać, zagadnęła drugą:

— Wyobraź sobie, Celino, poznałam młodą nauczycielkę Szwedkę, która mi udzieliła co do kooperatyw w krajach skandynawskich szczegółów niesłychanie interesujących. Trzeba ją będzie tu ściągnąć któregoś dnia na obiad.

— Oczywiście! — odparła siostra jej Flora — ale ja też nie straciłam czasu. Spotkałam u pana Vinteuil starego uczonego, który dobrze zna pana Maubant. Maubant objaśnił mi bardzo szczegółowo, w jaki sposób opracowuje role. Szalenie interesujące. To sąsiad pana Vinteuil, nie wiedziałam nic o tym; bardzo miły.

— Nie tylko pan Vinteuil ma miłych sąsiadów — wykrzyknęła ciotka Celina głosem, któremu nieśmiałość użyczyła siły, a intencja sztuczności, przy czym rzuciła na Swanna to, co nazywała znaczącym spojrzeniem. Równocześnie, ciotka Flora, która zrozumiała, że ten wykrzyk był podziękowaniem Celiny za wino, popatrzyła także na Swanna z wyrazem równocześnie powinszowania i ironii, bądź aby podkreślić ładne powiedzenie siostry, bądź że zazdrościła Swannowi, iż je natchnął, bądź też że nie mogła się wstrzymać od zażartowania zeń w duchu, wyobrażała sobie bowiem, że on jest na mękach.

— Sądzę, że będzie można zaprosić tego pana na obiad — ciągnęła Flora — kiedy się go sprowadzi na Maubanta albo na panią Maternę, mówi godziny całe bez przerwy.

— To musi być rozkoszne — westchnął dziadek — w którego duszy natura na nieśćczęście w tym samym stopniu zapomniała pomieścić zdolności zainteresowania się kooperatywami szwedzkimi lub techniką ról Maubanta, w jakim zapomniała obdarzyć siostr babki owym ziarnkiem soli, które trzeba dodać samemu, aby znaleźć jakiś smak w konwersacji o życiu prywatnym Molégo albo hrabiego Paryża.

— Ot — rzekł Swann do dziadka — to co panu powiem, więcej, niżby się zdawało, ma związku z tym, o co pan mnie pytał, bo w pewnych punktach rzeczy nie zmieniły się zbyt. Czytałem dziś rano w Saint-Simonie coś, coby pana zabawiło. Mówię o tomie dotyczącym jego ambasady w Hiszpanii; to nie jest najlepszy tom, to prawie tylko dziennik, ale w każdym razie dziennik cudownie pisany, co już tworzy grubą różnicę z okropnymi dziennikami, które trzeba nam czytać rano i wieczór.

— Nie zgodziłabym się z panem; bywają dni, w których czytanie dzienników wydaje mi się bardzo przyjemne... — przerwała ciotka Flora, aby okazać że czytała w *Figarze* wzmiankę o Corocie Swanna.

— Kiedy mówią o rzeczach albo ludziach interesujących! — podlicytowała ciotka Celina.

— Nie przeczę — odparł Swann zdziwiony. — Zarzucam jedynie dziennikom to, że ściągają codziennie naszą uwagę na rzeczy bez znaczenia, gdy ledwo parę razy w życiu czytamy książki mówiące o rzeczach zasadniczych. Z chwilą, gdy co rano rozdieramy gorączkowo opakę dziennika, wówczas trzeba by odmienić rzeczy i pomieścić w gazecie, sam nie wiem co... ot, *Myśli* Pascala! (wygłosił ten tytuł z ironiczną przesadą, aby nie wyglądać na pedanta). A na odwrót w tomie ze złożonymi brzegami, który otwieramy ledwo raz na dziesięć lat — dodał, okazując wobec rzeczy światowych ową wzgardę, którą chętnie przybierają niektórzy światowcy — czytaliśmy, że królowa grecka udała się do Cannes albo że księżna de Léon wydała bal kostiumowy. W ten sposób, przywróciłoby się właściwe proporcje.

Ale żałując, że się dał wciągnąć do mówienia — nawet w lekki sposób — o rzeczach poważnych, dodał ironicznie:

— Ładną w istocie prowadzimy rozmowę; nie wiem, czemu wstąpiliśmy na te „szczyty”.

Po czym, zwracając się do dziadka:

— Zatem, Saint-Simon opowiada, że Maulevrier ośmielił się podać rękę jego synom. Wie pan, ten Maulevrier, o którym mówi: „Nigdy nie znalazłem w tej grubej butli nic poza kwasem, pospolitością i głupotą”...

— Nie wiem, czy są grube, ale znam butle, w których znajduje się zupełnie coś innego — rzekła żywo ciotka Flora, która też chciała podziękować Swannowi, bo wino przeznaczone było dla obu siostr. Celina zaczęła się śmiać. Swann, zaskoczony, podjął:

— „Nie wiem, czy to był spryt czy nieokrziesanie (pisze Saint-Simon), ale chciał podać rękę moim synom. Spostrzegłem się dość wcześnie aby temu przeszkodzić”.

Dziadek już się rozplątał nad „sprytem czy nieokrziesaniem”, ale panna Celina, u której nazwisko Saint-Simona — zawsze literat! — powstrzymało kompletne znieczulenie zdolności słuchowych, już się oburzała:

— Jak to? zachwycać się tym? doprawdy, to ładne! Co to właściwie znaczy? czy jeden człowiek nie jest równy drugiemu? Co to może stanowić za różnicę, czy ktoś jest księciem czy woźnicą, jeżeli ma rozum i charakter? Ładny miał system wychowywania dzieci pański Saint-Simon, jeżeli im nie kazał podawać ręki każdemu porządnemu człowiekowi. Ależ to po prostu straszne. I pan się ośmiela to cytować?

A dziadek, zrozpaczony, czując wobec tej obstrukcji niemożliwość wyciągnięcia Swanna na historię, których był ciekawy, rzekł półgłosem do mamy:

— Przypomnij mi wiersz, któregoś mnie nauczyła, a który tyle mi sprawia ulgi w podobnych chwilach. A, już mam: „Boże, ileż cnót w końcu znienawidzić można!” Och, jakie to mądre!

Nie spuszczałem oczu z matki; wiedziałem, że, kiedy siądą do stołu, nie będzie mi wolno zostać przez cały obiad i że, aby nie drażnić ojca, mama nie pozwoli mi się uściskać kilka razy przy ludziach, tak jakbym to uczynił w swoim pokoju. Toteż przyrzekałem sobie w jadalni, skoro się zacznie obiad i kiedy będę czuł, że się pora zbliżyć, z góry wycisnąć z tego pocałunku, który ma być tak krótki i ukradkowy, wszystko, co mogę z niego wydobyć sam; wybrać wzrokiem na twarzy miejsce, przygotować się, aby dzięki duchowej antycypacji tego pocałunku móc poświęcić całą minutę, której mi mama użyczy, na to, aby czuć jej policzki na swoich wargach — jak malarz, który, mogąc uzyskać jedynie krótkie seanse, przygotowuje paletę i robi zawczasu z pamięci, ze szkiców, wszystko to, w czym ostatecznie potrafi się obejść bez obecności modelu. Ale oto, nim zadzwoniono na obiad, dziadek rzekł z bezwiednym okrucieństwem:

— Mały ma minę zmęczoną, powinien by się położyć. Zresztą dziś obiad będzie późno.

I ojciec, który nie przestrzegał tak sumiennie traktatów jak babka i matka, rzekł: — Tak, tak, idź się położyć.

Chciałem uściskać mamę; w tej chwili rozległ gong obiadowy.

— Ale nie, dajcie pokój, zostaw matkę, dosyć sobie powiedzieliście dobranoc, śmieszne są te wybuchy czułości. No, na górę!

I trzeba mi było iść bez wiatyku; trzeba mi było wstępować stopień po stopniu, jak powiada wyrażenie ludowe „sercu wbrew”, krocząc wbrew sercu, które byłoby chciało wrócić do matki, ponieważ nie ucałowałam mnie, nie udzieliła tym samym memu sercu pozwolenia na pójście ze mną.

Te znienawidzone schody, przebywane zawsze tak smutno, wydzielają zapach lakieru, który poniekąd wchłonął i utrwalił ową swoistą cowieczorną zgryzotę i czynił ją może jeszcze okrutniejszą dla mojej wrażliwości, ile że w tej zapachowej formie inteligencja moja nie mogła brać udziału w męczarni. Kiedy śpimy i kiedy ból zębów objawia się nam na przykład jako młoda dziewczyna, którą silimy się dwieście razy z rzędu wyciągnąć z wody, lub jako wiersz z Moliera powtarzany bez przerwy, wielką ulgą jest obudzić się, iżby nasza inteligencja mogła oswobodzić ideę bólu zębów z wszelkiego heroicznego lub rytmicznego przebrania. Ja doznawałem przeciwności tej ulgi, kiedy zgryzota, że idę do swego pokoju, wchodziła we mnie w sposób nieskończenie szybszy, prawie błyskawiczny, podstępny zarazem i gwałtowny, przez wdychanie — o wiele toksyczniejsze niż wnikanie duchowe — właściwego tym schodom zapachu lakieru.

Skoro raz znalazłem się w pokoju, trzeba było zatkać wszystkie otwory, zamknąć okiennice, wykopać swój własny grób odchylając koldrę, przywdziać całun nocnej koszuli. Ale, nim zagrzebałem się w żelaznym łóżeczku, które wstawiono do mego pokoju, bo mi było za gorąco w lecie pod rypowymi zagonami wielkiego łóżka, uczulem odruch buntu, chciałem użyć podstępu skazańca. Napisałem do matki błagając ją, aby przysłała z ważnych powodów, których nie mogę zdradzić w liście. Drżałem tylko, że Franciszka, kucharka ciotki, mająca za zadanie zajmować się mną, kiedy byłem w Combray, może nie

Matka, Dziecko, Syn,  
Rozstanie, Cierpienie

Serce, Pocałunek

Zapach

Sen, Cierpienie

Sen, Śmierć

List

Sługa, Obyczaj, Jedzenie,  
Dziecko, Matka

zechce zanieść listu. Domyślałem się, że iść ze zleceniem do matki, kiedy są goście, wyda się jej równie niemożliwe co dla odźwiernego w teatrze oddać list aktorowi, podczas gdy ów jest na scenie. Miała ona, co do rzeczy które można albo których nie można robić, kodeks stanowczy, obfity, subtelny i nieubłagany w zakresie nieuchwytnych lub czczych rozróżnień, co mu dawało podobieństwo do owych starożytnych praw, które, obok przepisów okrutnych jak na przykład mordowanie dzieci przy piersi, zabraniały z przesadną delikatnością gotowania koźlęcia w mleku jego matki lub jedzenia ze zwierzęcia ścięgnię z uda. Ten kodeks — jeżeli o nim sądzić z nagłego uporu, z jakim wzdragała się wykonać niektórych zleceń — zdawał się przewidywać komplikacje społeczne i wyrafinowania światowe takie, jakich otoczenie Franciszki i jej tryb życia nie mogły jej podsunąć; i trzeba było sobie powiedzieć, że była w niej przeszłość francuska, bardzo dawna, szlachecka i źle pojęta, jak w owych przemysłowych miastach, gdzie stare pałace świadczą, iż było w nich niegdyś życie dworne, i gdzie robotnicy fabryki produktów chemicznych pracują wśród delikatnych rzeźb przedstawiających cud świętego Teofila albo czterech synów Hajmona.

W danym wypadku artykuł kodeksu, na skutek którego mało było prawdopodobne, aby poza wypadkiem pożaru Franciszka poszła niepokoić mamę w obecności pana Swanna dla mojej skromnej osoby, wyrażał po prostu szacunek, jaki wyznawała nie tylko dla krewnych — jak dla umarłych, księży i królów — ale także dla obcego, któremu się użycza gościny; szacunek, który byłby mnie może wzruszył w książce, ale który mnie zawsze drażnił w jej ustach, dla poważnego i wzruszonego głosu, jaki przybierała mówiąc o tym. Tym bardziej drażnił mnie tego wieczoru, gdy święty charakter, jaki przyznawała obiadowi, mógł mieć za skutek odmowę zakłócenia jego ceremonii. Ale, aby zyskać jedną szansę więcej, nie zważałem się skłamać i powiedzieć Franciszce, że to wcale nie ja chciałem pisać do mamy, ale że mama, rozstając się ze mną, poleciła mi, abym nie zapomniał przesłać jej odpowiedzi co do jakiegoś przedmiotu, którego miałem poszukać; i bardzo by się gniewała, gdyby jej nie oddać tego listu. Sądzę, że Franciszka nie uwierzyła mi, bo jak ludzie pierwotni których zmysły są sprawniejsze od naszych, rozróżniała bezpośrednio, po znakach dla nas niepochwytanych, wszelką prawdę, którą chcielibyśmy przed nią ukryć; patrzyła parę chwil na kopertę, jak gdyby wygląd papieru i pisma mogły ją objaśnić co do zawartości lub wskazać jej, do jakiego artykułu swego kodeksu powinna się odnieść. Po czym wyszła z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić:

— Co to za nieszczęście dla rodziców mieć takie dziecko!

Wróciła po chwili, aby mi powiedzieć, że dopiero podano lody, że niepodobna lokajowi oddać w tej chwili listu przy wszystkich; ale że, skoro dadzą płukanki, znajdzie się sposób doręczenia go mamie. Natychmiast moja męczarnia uśmierzyła się: zatem już nie do jutra — jak myślałem przed chwilą — rozstałem się z mamą! Bilecik mój — mimo iż pogniewa ją zapewne (i to podwójnie, bo ten manewr musiał mnie ośmieszyć w oczach Swanna) — miał mnie bodaj wpuścić, niewidzialnego i uszczęśliwionego, do pokoju w którym ona jest, miał jej mówić o mnie do ucha. Ta sala jadalna, zakazana, wroga, gdzie jeszcze przed chwilą nawet lody — „granito” — i płukanki zdawały mi się kryć rozkosze złowrogie i śmiertelnie smutne, skoro mama kosztowała ich z dała ode mnie, otwierała się dla mnie niby dojrzały i słodki owoc, który rozrywa swoją powłokę; miała bryznąć, trysnąć w moje upojone serce uwagę mamy, gdy będzie czytała moje słowa. Teraz nie byłem już z nią rozdzielony; zapory padły, łączyła nas rozkoszna nić. Przy tym to nie było wszystko: mama z pewnością przyjdzie!

Przypuszczałem, że gdyby Swann przeczytał mój list i odgadł jego cel, śmiałyby się bardzo z tego ucisku serca, którego doznawałem; otóż przeciwnie, jak się dowiedziałem później, podobny stan był cierpieniem długich lat jego życia i nikt tak dobrze jak on nie umiałby mnie zrozumieć, ów skurcz serca, jakiego doznajemy czując, że ukochana istota znajduje się w miejscu zabawy, gdzie nas nie ma i gdzie nie możemy za nią pośpieszyć, Swann poznał przez miłość. Ten stan, ten niepokój jest poniekąd predestynowany dla miłości, ona go zagarnie, wyspecjalizuje; ale kiedy jak u mnie niepokój ten nawiedzi serce, zanim miłość zjawiała się w życiu, wówczas buja, czekając na nią, mglisty i swobodny, bez określonego przydziału, raz w służbie jednego uczucia, to znów w służbie innego, to czułości synowskiej, to koleżeńskej przyjaźni. I tę radość, z jaką przeżyłem pierwszą swoją przygodę, kiedy Franciszka wróciła, aby mi oznajmić, że mój list będzie doręczony, Swann poznał ją również, ową zwodną radość! Dostarcza nam jej jakiś przyjaciel, jakiś krewny

naszej ukochanej, kiedy, przybывая do domu lub do teatru, gdzie ona się znajduje, na bal, redutę lub premierę, gdzie miał się z nią spotkać, przyjaciel ów spostrzeże nas błędzących pod bramą, czekających rozpaczliwie jakiejś okazji skomunikowania się. Poznaję nas, zbliża się swobodnie, pyta, co tu robimy. I kiedy zmyślamy, że mamy coś bardzo pilnego do powiedzenia jego krewnej lub przyjaciółce, upewnia, że to nic prostszego! każe nam wejść do sieni i obiecuje nam ją przysłać w ciągu pięciu minut. Jakże kochamy — tak jak ja w tej chwili kochałem Franciszkę — życzliwego pośrednika, który jednym słowem sprawi, że owa zabawa stanie się nam znośna, ludzka, niemal przyjazna. A jeszcze przed chwilą zdawała się nam ta sama zabawa czymś nieodgadnionym, piekielnym! czuliśmy jakieś wrogie, przewrotne i lubieżne wiry, które odciągały gdzieś daleko, każąc jej śmiać się z nas, tę, którą kochamy. Jeżeli mamy brać miarę z owego krewniaka, który nas zagadnął i który również jest uczestnikiem tych okrutnych misteriów, inni goście nie muszą mieć nic bardzo demonicznego. Wnikamy oto przez niespodziewany wylom w owe niedostępne i dręczące godziny, w których ona miała kosztować nieznaną szalów; podchwytyjemy jedną z chwil, których ciąg miałby się składać na owe rozkosze; chwilę równie rzeczywistą jak inne, może nawet ważniejszą dla nas, bo kochanka bardziej w nią jest wmieszana. Uzmysławiamy sobie, posiadamy tę chwilę, wkraczamy w nią, stworzyliśmy ją prawie: chwilę, w której ona się dowie, że jesteśmy tu, na dole. I bez wątpienia — tłumaczymy sobie — inne momenty zabawy nie musiały być nazbyt odmiennej przyrody, nie musiały mieć nic bardziej upajającego, nic co by nam powinno sprawiać takie cierpienie, skoro życzliwy przyjaciel powiedział: „Ależ zejdzie z przyjemnością! O wiele będzie jej milej porozmawiać tutaj z tobą, niż nudzić się tam na górze”. Niestety! Swann doświadczył tego; dobre intencje pośrednika bezsilne są wobec kobiety, którą drażni to, iż czuje się ścigana nawet na balu przez kogoś, kogo nie kocha. Często, przyjaciel schodzi sam.

Matka nie przysłała i, bez oszczędzań mojej miłości własnej (zaangażowanej w to, aby bajka o „poszukiwaniu czegoś”, których to poszukiwań wynik miałem rzekomo jej przesłać, nie spotkała się z zaprzeczeniem) kazała powiedzieć przez Franciszkę: „Nie ma odpowiedzi”. Jakże często później słyszałem te słowa w ustach portierów hotelowych lub garsonów z karciarńi, przynoszone biednej dziewczynie, która się dziwi: „Jak to, nic nie powiedział, ależ to niemożliwe! Oddał pan przecież mój list. Dobrze, zaczekam jeszcze”. I tak samo, jak ona zapewnia niezmiennie, że obejdzie się bez światła, które odźwierny chce dla niej specjalnie zapalić, i czeka, słysząc już tylko rzadkie odzywki o pogodzie, które portier wymienia ze strzelcem, po czym portier, sprawdzwszy godzinę, wysyła nagle strzelca, aby wstawił do lodu napój klienta, tak ja, oddaliwszy propozycję Franciszki przyrządzenia mi ziółek lub posiedzenia przy mnie, pozwoliłem jej wrócić do kredensu, położyłem się i zamknąłem oczy, starając się nie słyszeć głosu rodziców, którzy pili kawę w ogrodzie. Ale po upływie kilku sekund uczulem, iż pisząc ten list do mamy, zbliżając się pod grozą jej gniewu tak bardzo do niej, iż zdawało mi się, że dotykam chwili ujrzenia jej, przeciąłem sobie możliwość zaśnięcia bez jej widoku. Z minuty na minutę bicia mego serca stawały się boleśniejsze, ponieważ wzmagąłem swoje podniecenie, nakazując sobie spokój, który był pogodzeniem się z moją niedolą.

Naraz ucisk serca ustał, ogarnęło mnie szczęście takie, jak gdy silne lekarstwo zaczyna działać i odejmie nam ból; postanowiłem w tej chwili nie próbować już zasnąć bez ujrzenia mamy; postanowiłem uściskać ją za wszelką cenę, kiedy będzie szła się położyć, mimo iż łączyło się to z oczywistością długiego jej gniewu. Spokój, który wypływał z zakończenia moich męczarni, wprawiał mnie w nadzwyczajną radość, nie mniej niż oczekiwanie, pragnienie i obawa niebezpieczeństwa. Otwarłem bez hałasu okno i usiadłem na łóżku; wstrzymywałem wszelki ruch z obawy, aby mnie nie usłyszano z dołu. W przyrodzie wszystko wydawało się również zakrzepłe w niemej uwadze, aby nie zmącić blasku księżycy, który, zdwajając i oddalając każdą rzecz swoim blaskiem, gęstszym i konkretniejszym niż ona sama, ściemnił i poszerzył zarazem krajobraz niby mapę złożoną dotąd, którą się rozwija. To, co musiało się poruszać — jakiś liść kasztanu — ruszało się. Ale jego drżenie, drobiazgowe, totalne, spełnione aż do najdrobniejszych odcieni i największych subtelności, nie udzielało się reszcie, nie stapiało się z nią, pozostawiało ograniczone. Najdalsze odgłosy rozpostarte w tej ciszy, która nie chłoneła z nich nic; te które szły z ogrodów położonych na krańcu miasta, rozlegały się z takim „wykończe-

niem”, że zdawały się zawdzięczać owo wrażenie dali jedynie swemu *pianissimo*<sup>6</sup>, niby owe pianissima tak mistrzowsko wykonywane przez orkiestrę Konserwatorium, że — choć się z nich nie traci ani nuty — robią wrażenie czegoś słyszanego spoza sali koncertowej, i że wszyscy starzy abonenci — także i siostry babki, kiedy Swann ofiarował im swoje miejsca — nadstawiają ucha, jak gdyby słyszeli daleki krok maszerującego wojska, nim jeszcze skręciło w ulicę de Tréville.

Wiedziałem, że postępek, na który się ważyłem, może mieć dla mnie, ze strony rodziców, konsekwencje najpoważniejsze, o wiele cięższe w istocie, niżby mógł przypuszczać ktoś obcy: takie o jakich się mniema że grożą jedynie przewinom naprawdę hańbiącym. Ale w systemie mojego wychowania porządek przestępstw był nie taki jak u innych dzieci; przed wszystkimi innymi błędami (zapewne dlatego, że od tych trzeba mnie było najpilniej strzec) nauczono mnie stawiać te, o których wiem dzisiaj, że ich wspólną cechą jest nadmierna pobudliwość nerwowa. Wówczas nie wymawiano tego słowa, nie uznawano tego objaśnienia, które byłoby mogło usprawiedliwić mnie we własnych oczach lub nawet utwierdzić w wierze, że jestem niezdolny opierać się tym odruchom. Ale poznawałem je dobrze po lęku, który je poprzedzał, jak i po srogości kary, która po nich następowała; i wiedziałem, że błąd, jaki właśnie popełniłem jest — mimo że nieskończenie cięższy — z tej samej rodziny, co owe inne, za które bywałem surowo ukarany. Kiedy wyjdę naprzeciw matki w chwili, gdy będzie szła spać, a ona zobaczy, że ja się nie położyłem po to, aby jej jeszcze raz w korytarzu powiedzieć dobranoc, nie pozwolą mi zostać w domu, oddadzą mnie od jutra do internatu; to było pewne. I cóż! choćbym się miał rzucić z okna w pięć minut później, wołałem nawet to. W tej chwili chciałem tylko mamy, musiałem jej powiedzieć dobranoc; zbyt daleko zaszedłem na drodze wiodącej do ziszczenia tej żądzy, aby móc się wrócić.

Usłyszałem rodziców, którzy odprowadzali Swanna; kiedy dzwonek u furtki oznajmił mi, że gość odszedł, zbliżyłem się do okna. Mama pytała ojca, czy mu smakowała langusta i czy pan Swann dobierał kawowych i pistacjowych lodów.

— Wydały mi się trochę mdle — rzekła matka — myślę, że na drugi raz trzeba będzie spróbować innego smaku.

— Nie umiem powiedzieć, jak mi się Swann wydaje zmieniony — rzekła ciotka — ależ się zestarzał!

Ciotka tak nawykła widzieć w Swannie zawsze tego samego młodego człowieka, że dziwiła się, znajdując go naraz starszym nad wiek, który mu wciąż dawała. I rodzice zresztą zaczęli się w nim dopatrywać owej anormalnej, przedwczesnej, hańbiącej i zasłużonej zgrzybiałości starych kawalerów, wszystkich tych, dla których wydaje się, że wielki dzień bez jutra dłuższy jest niż dla innych, dlatego że dla nich jest pusty i że chwile sumują się w nim od rana, nie dzieląc się następnie między dzieci.

— Sądzę, że on ma wiele zgrzytot z tą paskudną żoną, która, na oczach całego Combray, żyje z niejakim Charlussem. Całe miasto gada o tym.

Matka zauważyła, że jednak Swann wydaje się od jakiegoś czasu o wiele mniej smutny.

— Rządziej też robi ów gest, w którym zupełnie podobny jest do swego ojca, kiedy ocierał oczy i przeciągał rękę po czole. Ja sądzę, że on w gruncie nie kocha już tej kobiety.

— Ależ oczywiście, że jej już nie kocha — odparł dziadek. — Dostałem od niego, już dawno temu, w tym przedmiocie list, do którego nie omieszkałem się nie zastosować, a który nie zostawia żadnych wątpliwości, co do jego uczuć, przynajmniej miłosnych, względem żony. No i co, widzicie, nie podziękowałyście mu za Asti — dodał dziadek, zwracając się do szwagierek.

— Jak to nie podziękowałyśmy? Zdaje mi się nawet, że to przemyciła dosyć zręcznie — odparła ciotka Flora.

— Tak, bardzoś to ładnie ujęła, podziwiałam cię — rzekła ciotka Celina.

— Ale i ty miałaś moment bardzo szczęśliwy.

— Tak, byłam dość dumna z mego zwrotu o *miłych sąsiadach*.

— Jak to, więc wy to nazywacie podziękować! — wykrzyknął dziadek. — Słyszałem, ale niech mnie czarci porwą, jeżeli wiedział, że to się odnosi do Swanna. Możecie być pewne, że on nic nie zrozumiał.

<sup>6</sup>*pianissimo* (wł.) — określenie dynamiki w muzyce: bardzo cicho. [przypis edytorski]



— Ale skądże, Swann nie jest głupi, jestem pewna, że on to ocenił. Nie mogłam mu przecie wyszczególnić liczby butelek i ceny wina!

Rodzice zostali sami, siedli na chwilę; potem ojciec rzekł:

— No tak. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, pójdziemy się położyć.

— Jak chcesz, mój drogi, mimo że nic mi się spać nie chce. Nie podejrzewam, aby ta odrobina kawy w lodach wybiła mnie ze snu; ale widzę światło w kredensie i skoro poczciwa Franciszka czekała na mnie, poproszę ją, aby mi rozpięła stanik, gdy ty będziesz się rozbierał.

I matka otworzyła drzwi do sieni, którą szło się na schody. Niebawem usłyszałam ją, jak idzie zamknąć okno. Wysunąłem się bez hałasu na korytarz, serce biło mi tak silnie, że ledwo mogłem iść; ale przynajmniej nie biło już z rozpaczy, tylko ze strachu i z radości. Ujrzałem na schodach światło od maminej świecy. Potem ujrzałem ją samą, rzuciłem się ku niej. W pierwszej sekundzie popatrzyła na mnie zdumiona, nie rozumiejąc, co się stało. Potem twarz jej oblokła się gniewem, nie rzekła ani słowa i w istocie za mniejsze o wiele rzeczy nie mówiono do mnie przez kilka dni. Gdyby mama się odezwała, znaczyłoby to, że można ze mną mówić; zresztą wydałoby mi się to może jeszcze straszliwsze jako znak, że wobec ciężkości zawieszonych nade mną kary, milczenie, gniew, byłyby zbyt dobre. Każde słowo wyrażałoby ów spokój, z jakim odpowiada się służącemu, kiedy się postanowiło oddalić go; pocałunek, który się daje synowi, gdy się go wyprawia z domu, a którego by mu się odmówiło, gdyby się rzecz miała skończyć na dwudniowym gniewie. Ale matka usłyszała ojca idącego z garderoby i, aby uniknąć niezawodnej sceny, rzekła głosem drżącym od wzburzenia:

— Uciekaj, uciekaj, niech przynajmniej ojciec nie widzi cię tutaj wystającego jak wariat.

Ale ja powtarzałem: „Przyjdź mi powiedzieć dobranoc”, przerażony odbłaskiem ojcowskiej świecy na ścianie, ale zarazem czyniąc z bliskości ojca rodzaj szantażu i mając nadzieję, że dla uniknięcia spotkania mojego z ojcem w tej sytuacji mama powie mi: „Wracaj do siebie, przyjdę”. Było za późno, ojciec stał przed nami. Bezradnie wyszeptalem słowa, których nikt nie słyszał: „Jestem zgubiony!”.

Stało się inaczej. Ojciec naruszał stale przywileje, które zdobyłem w szerszych paktach przyznawanych mi przez matkę i babkę, ponieważ nie troszczył się o zasady i nie było z nim „prawa narodów”. Dla jakiejś racji zupełnie przypadkowej lub nawet bez racji obcinał mi w ostatniej chwili jakiś spacer tak tradycyjny, tak uświęcony, że nie można było pozbawić mnie go bez krzywoprzysięstwa. Czasem, jak zrobił jeszcze tego wieczora, powiadał mi, o wiele przed godziną urzędową; „No, idź się położyć, żadnych wyjaśnień!” Ale także, dlatego że nie miał (w rozumieniu babki) zasad, nie mógł, ściśle biorąc, być nieugięty. Popatrzył na mnie chwilę, zdziwiony i zagniewany; po czym, skoro mama wytłumaczyła mu z zakłopotaniem, co się stało, rzekł:

— No to idź do niego, skoro mówiłaś, że ci się nie chce spać; zostań trochę w jego pokoju, ja nie potrzebuję niczego.

— Ależ, mój drogi — odparła nieśmiało matka — to, że mi się nie chce spać, to nie zmienia kwestii; nie można przyzwyczajać dziecka...

— Ależ nie chodzi o przyzwyczajenie — rzekł ojciec, wzruszając ramionami — widzisz przecie, że malec ma jakąś zgrzyotę, wygląda tak żałośnie; no, przecież nie jesteśmy ludożercy! Dużo ci z tego przyjdzie, że on się rozchoruje! Skoro są dwa łóżka w pokoju, powiedz Franciszce, żeby ci posłała wielkie łóżko i śpij tej nocy przy nim. No, dobranoc, ja nie jestem taki nerwowy jak wy, ja się kładę.

Nie mogłem dziękować ojcu, rozgniewałbym go swoją czułością, jak to nazywał. Nie śmiałem się poruszyć; on jeszcze stał przed nami, wielki, w białym szlafroku, z fioletową kaszmirową chustką, którą sobie okręcał głowę od czasu, jak miewał newralgie. Miał gest Abrahama na rycinie wedle Benozzo Gozzoli, którą mi dał pan Swann, gdy Abraham nakazuje Sarze, aby się rozstała z Izaakiem. Dużo lat upłynęło od tego dnia. Schody i ściana, na której ujrzałem odbłask świecy ojca, nie istnieją już od dawna. We mnie niszczało wiele rzeczy, o których myślałem, że powinny trwać wiecznie, i nowe wyrosły, dając początek nowym troskom i radościom, których wówczas nie byłbym mógł przewidzieć, tak samo jak dawne stały mi się trudne do zrozumienia. Od dawna już ojciec nie może powiedzieć mamie: „Idź do tego malca”. Możliwość takich godzin już

Ojciec, Dziecko

Łzy, Smutek, Dzieciństwo,  
Cierpienie, Dziecko, Matka

się nie odrodzi dla mnie nigdy. Ale od niedawna, zaczynam bardzo dobrze słyszeć, kiedy nadstawię ucha, łkanie, które zdołałem powstrzymać w obecności ojca i które wybuchło dopiero wówczas, kiedy zostałem sam z matką. W rzeczywistości łkanie to nie ustało nigdy; i jedynie dlatego, że życie milczy teraz bardziej dokoła mnie, słyszę je na nowo, niby owe dzwony klasztorne, w ciągu dnia tak stłumione hałasami miasta, iż zdawałoby się, że zamarły, ale które zaczynają znów dzwonić w ciszy wieczornej.

Mama spędziła tę noc w moim pokoju; w chwili, gdy dopuściłem się takiego błędu, że spodziewałem się, iż będę musiał pożegnać dom, rodzice przyznali mi więcej, niż byłbym kiedykolwiek uzyskał w nagrodę pięknego czynu. Postępowanie ojca ze mną, nawet gdy się objawiło w tej łasce, zawsze zachowało coś dowolnego, niezastuzonego, ile że bardziej zależało od przypadkowych okoliczności niż od przemyślanego planu. Może nawet to, co nazywałem jego surowością, kiedy mnie wyprawiał spać, mniej zasługiwało na tę nazwę niż surowość matki albo babki. Ojciec, ze swą naturą różniejszą w wielu punktach od mojej, nie odgadł prawdopodobnie, jak bardzo co wieczór byłem nieszczęśliwy, o czym matka i babka wiedziały dobrze; ale one kochały mnie na tyle, aby nie chcieć oszczędzić mi cierpienia; chciały bym się nauczył panować nad sobą, chciały zmniejszyć moją pobudliwość i wzmocnić wolę. Co do ojca, którego przywiązanie do mnie było innego rodzaju, nie wiem, czy miałby tę wytrwałość; gdy jeden raz zrozumiał, że ja cierpię, zaraz powiedział matce: „Idźże go pociesz”.

Mama spędziła tę noc w moim pokoju, widocznie nie chcąc psuć żadnym wyrzutem owych godzin tak odmiennych od tego, czego miałem prawo się spodziewać. Kiedy Franciszka, widząc mamę, jak siedzi przy mnie, trzyma mnie za rękę i pozwala mi płakać, nie łając mnie, zrozumiała, że się dzieje coś niezwykłego i spytała: „Ale, proszę pani, czego panicz tak płacze?”, mama odpowiedziała: „On sam nie wie czemu, zdenerwowany jest, pościel mi prędko i idź spać”.

Tak więc pierwszy raz smutek mój nie był brany jako błąd zasługujący na karę, ale jako mimowolne cierpienie, które oficjalnie uznano; jako stan nerwowy, za który nie jestem odpowiedzialny; doznałem tej ulgi, że nie potrzebowałem już przydawać wyrzutów do goryczy swoich łez, mogłem płakać bez grzechu. Niemal było też dumny wobec Franciszki z tego obrotu rzeczy ziemskich, który w godzinę po tym, jak mama odmówiła przyścia do mnie i kazała mi wzgardliwie odpowiedzieć, że mam spać, wznosił mnie do godności dorosłej osoby i dawał mi nagle jakby dojrzałość cierpienia, prawo łez. Powinno być być szczęśliwy; nie byłem. Miałem uczucie, że matka uczyniła dla mnie pierwsze ustępstwo, które musiało jej być bolesne; że to była z jej strony pierwsza abdykacja z ideału, jaki sobie dla mnie stworzyła; i że pierwszy raz ona, tak mężna, uznała się zwyciężoną. Zdawało mi się, że, jeżeli odniosłem zwycięstwo, to przeciw niej; że udało mi się tak, jak mogłoby się udać chorobie, zgryzocie albo wiekowi zmiękczyć jej wolę, ugiąć jej rozum, i że ten wieczór zaczyna nową erę, pozostanie smutną datą. Gdybym śmiał teraz, powiedziałbym mamie: „Nie, nie chcę, nie śpij tutaj”. Ale znałem jej mądrość praktyczną — realistyczną, jakby się powiedziało dzisiaj — która łagodziła w niej gorącą idealistyczną naturę babki; i wiedziałem, że teraz, kiedy zło się stało, wolałaby już dać mi bodaj kosztować jego kojącej słodyczy i nie niepokoić ojca. Zapewne piękna twarz matki błyszczała jeszcze młodością tego wieczoru, kiedy mnie trzymała tak łagodnie za ręce i starała się powstrzymać moje łzy; ale właśnie zdawało mi się, że tak być nie powinno; gniew jej byłby mniej smutny dla mnie niż ta nowa słodycz, której nie zaznało moje dzieciństwo; zdawało mi się, że bezbożną i tajemną ręką zarysowałem w jej duszy pierwszą zmarszczkę i sprowadziłem pierwszy siwy włos. Ta myśl zdwoiła moje łkania; wówczas ujrzałem, że mamie, która nigdy wobec mnie nie dawała folgi rozczuleniu, udzielił się naraz mój stan i że wstrzymuje chęć do płaczu. Czując, że m to spostrzegł, rzekła ze śmiechem:

— No i patrzcie, ten mały pieścuch, ten mały kociak gotów jeszcze sprawić, że mama zrobi się taka niemądra jak on. No, skoro ci się nie chce spać i mamie też nie, nie denerwujmy się już, róbmy coś, weźmy jakąś książkę.

Ale ja nie miałem w swojej sypialni książek.

— Czy zepsułoby ci to przyjemność, gdybym dziś wyjęła książki, które babcia ma ci dać na imieniny? Pomyśl dobrze: czy nie będziesz markotny, że nic nie dostaniesz pojutrze?

Książka, Sztuka, Dar, Czas

Byłem, przeciwnie, zachwycony: mama poszła po paczkę książek. Przez papier, w którym były zawinięte, mogłem odgadnąć jedynie ich krótki i szeroki format; ale już to pierwsze wejrzenie, mimo że powierzchowne, zasuwało w cień noworoczne pudełko z farbami i zeszlóroczne jedwabniki. To były *Mare au Diable*, *François le Champi*, *Petite Fadette* i *Maîtres Sonneurs*. Babka, jak dowiedziałem się później, wybrała zrazu poezje Musseta, tom Roussa i *Indiang*; o ile bowiem uważała lichą lekturę za równie niezdrową jak ciasteczki i ciastka, nie sądziła, aby szeroki oddech geniuszu mógł mieć na umysł dziecka wpływ niebezpieczny i mniej ożywczy niż powietrze i wiatr na jego ciało. Ale ponieważ ojciec, dowiedziawszy się, jakie książki babka zamierza mi dać, potraktował ją niemal jak wariatkę, udała się sama do Jouy-le-Vicomte do księgarza, izby w dniu imienin nie brakło prezentu (dzień był upalny i wróciła tak cierpiąca, że lekarz ostrzegł matkę, żeby jej nie pozwoliła męczyć się w ten sposób) i zdecydowała się na cztery sielskie powieści George Sand. „Moja droga, rzekła do mamy, nie umiałabym dać temu dziecku rzeczy źle napisanej”.

W istocie, nie umiała nigdy kupić czegoś takiego, z czego by nie można wyciągnąć korzyści intelektualnej, tej zwłaszcza, jaką nam sprawiają piękne rzeczy, ucząc nas szukać przyjemności w czym innym niż w zadowoleniu dobrobytu i próżności. Nawet kiedy komuś miała zrobić podarek tzw. użyteczny, dać fotel, nakrycie, laskę, szukała „antyków”, tak jakby, zatarłszy długim nieużywaniem swój użytkowy charakter, przedmioty te zdolne były raczej opowiadać nam o życiu ludzi dawnych, niż służyć potrzebom naszego życia. Pragnęła, abym miał w pokoju fotografie najpiękniejszych gmachów i krajobrazów. Ale w chwili, gdy miała je kupić, mimo iż wyobrażany przedmiot miał wartość estetyczną, uważała, że pospolitość, użytkowość, zbyt szybko odzyskują miejsce w mechanicznym sposobie odtwarzania, w fotografii. Próbowano szukać wybiegu i jeżeli nie całkowicie wyrugować handlową banalność, to przynajmniej uszczuplić ją, podstawić pod nią możliwie najwięcej sztuki, wprowadzić w nią jakby kilka warstw sztuki; zamiast fotografii katedry w Chartres, wodotrysków w Saint-Cloud, Wezuwiusza, wypytywała Swanna, czy nie odtworzył ich jaki wielki malarz; i wołała mi dać fotografię katedry w Chartres malowanej przez Corota, wodotrysków przez Huberta Robert, Wezuwiusza Turnera, co tworzyło jeden stopień sztuki więcej. Ale, o ile usunięto w ten sposób fotografa od odtworzenia arcydzieła sztuki lub przyrody i zastąpiono go wielkim artystą, odzyskiwał on swoje prawa, aby zreprodukować tę interpretację. Zderzywszy się z pospolitością, babka próbowała jeszcze ją odsunąć. Pytała Swanna, czy owo dzieło nie było rytowane, przekładając, o ile to było możliwe, ryciny stare, a wreszcie przesuwając wartości jeszcze o stopień dalej; szukała na przykład sztychów, przedstawiających arcydzieło w stanie, w którym nie możemy go już widzieć dzisiaj (na przykład *Uczta* Leonarda przed jej uszkodzeniem, przez Morgena). Trzeba przyznać, że wyniki tego rodzaju podarków nie bywały zbyt świetne. Pojęcie, jakie powziąłem o Wenecji z rysunku Tycjana, który ma rzekomo za tło lagunę, było z pewnością mniej dokładne, niż gdybym dostał zwykłe fotografie. Niepodobna było zliczyć, kiedy ciotka chciała sporządzić akt oskarżenia przeciw babce, foteli ofiarowanych przez nią młodym narzeczonym lub starym małżonkom, a które za pierwszą próbą załamywały się pod ciężarem jednego z obdarowanych. Ale babka uważałaby za coś małostkowego troszczyć się o solidność drzewa, na którym znać było jeszcze jakąś girlandkę, uśmiech, czasami piękny odbłask przeszłości. Nawet to, co w tych meblach odpowiadało potrzebie, zachwycało ją swoim stylem, do którego nie jesteśmy już przyzwyczajeni — niby owe stare sposoby wysłowienia, w których widzimy przenośnię, zatartą w nowoczesnym języku przez oswojenie. Otóż właśnie owe sielskie romanse George Sand, które mi dała na imieniny, pełne były, niby stare meble, wyrażeń, które wyszły z użycia i stały się z powrotem obrazowe, takich jakie spotyka się już tylko na wsi. I babka przełożyła te książki nad inne, tak jak byłaby chętniej wynajęła posiadłość, gdzie by się znajdował jakiś gotycki pawilon lub któraś z owych starych rzeczy, rodzących w naszej duszy błogosławioną nostalgię niemożliwych podróży w czasie.

Mama siadła koło mego łóżka, wzięła *François le Champi*, któremu rdzawa okładka i niezrozumiały tytuł dawały w moich oczach odrębną osobowość i tajemniczy urok. Nigdy nie czytałem dotąd prawdziwych powieści. Słyszałem, że George Sand jest znakomitą pisarką. To mnie już nastrajało, aby szukać we *François le Champi* czegoś nieokreślonego i rozkosznego. Sposób opowiadania starający się przede wszystkim budzić

Dziecko

Książka

ciekawość lub wzruszenie, pewne zwroty rodzące niepokój i melancholię, wszystko to, w czym wykształceńszy czytelnik poznaje wspólny kapitał wielu powieści, wydawało mi się — mnie, który uważałem nową książkę nie za jedną z wielu podobnych, ale za coś jedyne, mającego rację istnienia tylko w niej samej — odurzającą emanacją właściwą owemu *François le Champi*. Pod tymi wypadkami tak codziennymi, pod rzeczami tak pospolitymi, słowami tak potocznymi, czułem jak gdyby osobliwy ton, akcent. Zawiązała się akcja; wydała mi się dość ciemna, ile że w owym czasie, czytając, marzyłem często przez całe stronicę o czymś całkiem innym. A kiedy mama czytała mi głośno, luki mojego roztargnienia pomnażała jeszcze okoliczność, że mama opuszczała wszystkie sceny miłosne. Toteż wszystkie te dziwne zmiany występujące we wzajemnym stosunku młynarki i chłopca, a dające się wytłumaczyć jedynie postępami rodzącej się miłości, wydawały mi się głęboko tajemnicze. Wyobrażałem sobie chętnie, że źródło tej tajemnicy musi się znajdować w owym nieznanym, a tak słodkim nazwisku *Champi*, które użyczało chłopcu noszącemu je (czemu? — nie wiedziałem) swoich żywych, purpurowych i uroczych kolorów.

O ile matka była lektorką niewierną, była w zamian — o ile w jakimś utworze znalazła akcent szczerego uczucia — lektorką cudowną przez dyskrecję i prostotę interpretacji, przez piękno i słodycz głosu. Nawet w życiu, kiedy nie dzieła sztuki, ale osoby rodziły jej tkliwość i podziw, wzruszające było widzieć, z jaką uwagą usuwała z głosu, gestu, ze sposobu mówienia, jakiś błysk wesołości, zdolny wyrządzić przykrość matce, która niegdyś straciła dziecko; jakieś wspomnienie imienin, rocznicy, mogące nasunąć starcowi myśl o jego wieku; jakiś szczegół gospodarski, który mógłby się wydać nudny młodemu uczonemu. Tak samo, kiedy czytała prozę George Sand oddychającą zawsze ową dobrocią, owym wykwintem moralnym, które mama nauczyła się od babki cenić ponad wszystko w życiu (dopiero znacznie później miałem ją nauczyć, żeby ich nie stawiała również ponad wszystko w książkach), wówczas, bacznie usuwając z głosu wszelką małość, wszelką przesadę zdolną utrudnić przyjęcie potężnej fali, dawała całą naturalną czułość, całą soczystą słodycz owym zdaniom, które zdawały się napisane na jej głos i które, aby tak rzec, całkowicie mieściły się w rejestrze jej wrażliwości. Czytając te ustępy, odnajdywała w głosie ów akcent serca, który je podyktował, ale którego słowa nie wskazują; głosem łagodziła w składni wszelką ostrość w odmianie czasów; czasowi przeszłemu i przeszłemu dokonanemu dawała jakąś słodycz dobroci, melancholię tkliwości; kierowała kończące się zdanie ku temu, które się miało zacząć, to przyspieszając, to zwalniając krok sylab, aby je wciągnąć, mimo że wartości ich były różne, w jednostajny rytm; tchnęła w tę tak pospolitą prozę jakieś życie serdeczne i ciągłe.

Skoro się ukoiliły moje wyrzuty, oddałem się słodyczy tej nocy, w której miałem matkę koło siebie. Wiedziałem, że taka noc nie może się powtórzyć; że największe pragnienie jakie miałem w świecie — zatrzymać matkę w pokoju podczas tych smutnych nocnych godzin — było zanadto sprzeczne z warunkami życia i z życzeniami wszystkich, aby użyczone mu tego wieczora jego spełnienie mogło nie być czymś sztucznym i wyjątkowym. Jutro lęki moje odżyją, a mamy nie będzie przy mnie. Ale, kiedy mój niepokój uśmierzył się, nie rozumiałem go już; przy tym jutrzejszy wieczór był jeszcze daleko; powiadałem sobie, że będę miał czas coś wymyślić, mimo że ten przeciąg czasu nie mógł mi przynieść żadnej nowej szansy, że chodziło o rzeczy, które nie zależały od mojej woli i które jedynie przestrzeń dzieląca je jeszcze ode mnie czyniła na pozór możliwymi do uniknięcia.

\*

Tak oto, przez długi czas, kiedy, obudzivszy się w nocy, przypominałem sobie Combray, zawsze widziałem jedynie tę jasną ścianę, odcinającą się na tle niewyraźnych ciemności, jak ściany, które płomień bengalskiego ognia lub jakaś projekcja elektryczna oświeca i wyodrębnia w budynku, zostawiając inne jego części w mroku. U dosyć szerokiej podstawy salonik, jadalnia, wylot ciemnej alei, którą przybywa pan Swann, nieświadomy sprawca moich smutków, sień wiodąca mnie ku pierwszemu stopniowi schodów, okrutnych schodów, które tworzyły wąski kadłub tej nieforemnej piramidy; a na szczycie moja sypialnia z korytarzykiem o oszklonych drzwiach gotowych na wejście mamy; słowem, wciąż widziana o tej samej godzinie, wyodrębniona ze wszystkiego, co mogło być dokoła,

Słowo, Książka

Noc, Matka, Dziecko, Syn,  
Strach, Cierpienie, Obyczaje

odcinająca się w ciemności, ściśle konieczna dekoracja do dramatu mego rozbierania się — na kształt tej, którą wskazują nagłówki starych sztuk dla teatrów prowincjonalnych; tak jakby Combray składało się tylko z dwóch pięter połączonych wąskimi schodami i jakby tam zawsze była tylko siódma wieczór. Prawda, iż komuś, kto by mnie zapytał, mógłbym odpowiedzieć, że Combray zawierało jeszcze coś więcej i istniało o innych godzinach. Ale, ponieważ tamtych innych wspomnień dostarczyłaby mi jedynie pamięć wywołana wolą, pamięć intelektualna, której informacje o przeszłości nie zachowują nic z istoty rzeczy, nie byłbym miał nigdy ochoty myśleć o tej reszcie Combray. Wszystko to było w istocie umarłe dla mnie.

Pamięć, Czas

Umarłe na zawsze? Możliwe.

Wielu w tym jest przypadku, a drugi przypadek, nasza śmierć, często nie pozwala nam długo czekać na łaskawe względy tamtego przypadku.

Dusza

Bardzo rozsądna wydaje mi się wiara celtycka, że dusze tych, których straciliśmy, uwięzione są w jakiejś niższej istocie, w zwierzęciu, roślinie, rzeczy nieożywionej, stracone w istocie dla nas, aż do dnia — dla wielu nie przychodzi on nigdy — gdy nam się zdarzy przejść koło drzewa, wejść w posiadanie przedmiotu będącego ich więzieniem. Wówczas drżą, wołają nas, i skorośmy je tylko poznali, czar pryska. Oswobodzone przez nas, zwyciężyły śmierć i wracają, aby żyć z nami.

Tak jest z naszą przeszłością. Starać się ją wywołać, to stracony czas, wszystkie wysiłki naszej inteligencji są daremne. Ukryta jest poza jej dziedziną i poza jej zasięgiem, w jakimś materialnym przedmiocie (we wrażeniu, jakie by nam dał ten materialny przedmiot), którego się nie domyślamy. Od przypadku zależy, czy ten przedmiot spotkamy, zanim umrzemy, czy też go nie spotkamy.

Pamięć, Jedzenie

Upłynęło wiele lat od czasu, jak z całego Combray wszystko, co nie było sceną i dramatem mego układania się do snu, nie istniało już dla mnie, kiedy pewnego zimowego dnia, skoro wróciłem do domu, matka, widząc że mi jest zimno, namówiła mnie, abym się napił, wbrew zwyczajowi, trochę herbaty. Odmówiłem zrazu; potem, nie wiem czemu, namyśliłem się. Posłała po owe krótkie i pulchne ciasteczka zwane *magdalenkami*, które wyglądają jak odlane w prążkowanej skorupie muszli. I niebawem przytłoczony ponurym dniem i widokami smutnego jutra, machinalnie poniosłem do ust łyżeczkę herbaty, w której rozmoczyłem kawałek magdalenki. Ale w tej samej chwili, kiedy łyk pomieszany z okruskami ciasta dotknął mego podniebienia, zadrzałem, czując, że się we mnie dzieje coś niezwykłego. Owładnęła mną rozkoszna słodycz, odosobniona, nieumotywowana. Sprawiała, że w jednej chwili koleje życia stały mi się obojętne, klęski jego blahe, krótkość złudna; działała w ten sam sposób, w jaki działa miłość, wypełniając mnie kosztowną esencją; lub raczej ta esencja nie była we mnie, była mną. Przestałem czuć się miernym, przypadkowym, śmiertelnym. Skąd mogła mi płynąć ta potężna radość? Czulem, że jest złączona ze smakiem herbaty i ciasta, ale że je przekracza nieskończenie, że nie musi być tej samej natury. Skąd pochodzi? Co znaczy? Gdzie ją chwycić? Piję drugi łyk, w którym nie znajduję nic więcej niż w pierwszym; trzeci, który przynosi mi nieco mniej niż drugi. Czas, abym się zatrzymał, siła napoju wyraźnie maleje. Jasne jest, że prawda, której szukam nie jest w nim, ale we mnie. Napój obudził ją we mnie, lecz jej nie zna i może jedynie powtarzać bez końca, ale z coraz mniejszą siłą, to samo świadectwo, którego nie umiem sobie wyłożyć i którego chcę bodaj móc żądać od niego i odnajdywać je nietknięte, wedle swojej ochoty, natychmiast, dla ostatecznego wyjaśnienia. Stawiam filiżankę i zwracam się do swojej inteligencji. Do niej należy odkryć prawdę. Ale jak? Poważna niepewność za każdym razem, kiedy myśl czuje się wyprzedzona przez siebie samą; kiedy ona, poszukiwaczka, jest zarazem tajemnym krajem, w którym ma szukać i gdzie cały jej aparat nie zda się na nic. Szukać? — nie tylko: tworzyć. Jest w obliczu czegoś, co jeszcze nie jest i co jedynie ona może zrealizować, a potem wciągnąć w swoje światło.

I zaczynam pytać się na nowo, co to może być ów nieznan stan, nie przynoszący żadnego logicznego wytłumaczenia, ale przynoszący oczywistość swojego szczęścia, realności, wobec której inne nikną. Próbuje przywołać go. Cofam się myślą do chwili, w której wypilem pierwszą łyżeczkę herbaty. Odnajduję ten sam stan, bez nowego wyjaśnienia. Żądam od swojej inteligencji jeszcze jednego wysiłku; każę jej jeszcze raz schwycić ulotne wrażenie. I aby nic nie hamowało rzutu, którym będzie próbowała pochwycić to wrażenie, usuwam wszelką przeszkodę, wszelką obcą myśl, chronię uszy i uwagę od szmerów

z sąsiedniego pokoju. Ale czując, że moja inteligencja nuży się bez rezultatu, każę jej przeciwnie zażyć dystrakcji, której jej odmawiałem, myśleć o czym innym, skrzepić się przed ostateczną próbą. Następnie drugi raz robię próżnię dokoła mojej świadomości; stawiam przed jej obliczem świeży jeszcze smak tego pierwszego łyku i czuję, że we mnie drży coś, co zmienia miejsce, co chciałoby się wzbić, coś jakby uwolnionego z kotwicy w wielkiej głębokości; nie wiem, co to jest, ale podnosi się wolno; czuję opór i słyszę szum przebywanych odległości.

Z pewnością to, co we mnie drga w ten sposób, to musi być obraz, wspomnienie wzrokowe, które skojarzone ze smakiem magdalenki próbuje iść za nim aż do mnie. Ale szamoce się zbyt daleko, bezładnie: zaledwie dostrzegam mgliste światło, w którym spływa się nieuchwytny wir kłębiących się barw; nie mogę rozróżnić kształtu, nie mogę go prosić — jako jedyne go możliwego tłumacza — aby mi objaśnił świadectwo jego współczesowego, nieodłącznego towarzysza, smaku; nie mogę go prosić, aby mnie pouczył, o jaką tutaj szczególną okoliczność chodzi, o jaką epokę przeszłości.

Czy dotrze aż do powierzchni mojej świadomości to wspomnienie, dawna chwila, którą siła identycznej chwili przyszła z tak daleka wołać, poruszać, wzywać w głębi mnie? Nie wiem. Teraz nie czuję już nic, wspomnienie zatrzymało się, może zanurzyło się z powrotem; kto wie, czy wypłynie kiedy z mroku? Dziesięć razy trzeba mi zaczynać, pochylać się ku niemu. I za każdym razem lenistwo, które nas odwraca od wszelkiego trudnego zadania, od wszelkiego doniosłego dzieła, poradziło mi, abym temu dał pokój, abym pił herbatę myśląc po prostu o dzisiejszych zgryzotach, o jutrzejszych pragnieniach, które można przeżuwać bez trudu.

I nagle wspomnienie zjawilo mi się. Ten smak, to była magdalenka cioci Leonii. W niedzielę rano w Combray (ponieważ tego dnia nie wychodziłem przed godziną mszy), kiedy szedłem do pokoju cioci Leonii powiedzieć jej dzień dobry, dawała mi kawałek ciasta, zmoczywszy je w herbacie lub w naparze kwiatu lipowego. Widok magdalenki nie przypominał mi nic, nim ją skosztowałem; może dlatego, że widywałem je od tego czasu często — mimo że ich nie jadłem — na ladzie cukierni; obraz ich opuścił owe dni Combray, aby się skojarzyć z innymi świeższymi; może dlatego, że z owych wspomnień, tak długo zostawionych poza pamięcią, nic nie przetrwało, wszystko rozpyliło się; kształty — także ten kształt małej muszelki z ciasta, tak pulchnej i zmysłowej pod swoim surowym i nabożnym rurkowaniem — znikły lub też uśpione, straciły energię, która by im pozwoliła połączyć się ze świadomością. Ale kiedy po śmierci osób, po zniszczeniu rzeczy, z dawnej przeszłości nic nie istnieje, wówczas jedynie zapach i smak, węższe, ale żywsze, bardziej niematerialne, trwalsze, wierniejsze, długo jeszcze, jak dusze, przypominają sobie, czekają, spodziewają się — na ruinie wszystkiego — i dźwigają niestrudzenie na swojej znikomej kropelce olbrzymią budowlę wspomnienia.

I z chwilą gdy poznałem smak zmoczonej w kwiecie lipowym magdalenki, którą mi dawała ciotka (mimo że jeszcze nie wiedziałem i aż znacznie później miałem odkryć, czemu to wspomnienie czyniło mnie tak szczęśliwym), natychmiast stary, szary dom od ulicy, gdzie był jej pokój, przystawił się niby dekoracja teatralna do wychodzącej na ogród oficynki, którą zbudowano dla rodziców od tyłu (owa ściana ściana, jedyna którą wprzód widziałem) i wraz z domem miasto, od rana do wieczora i w każdym czasie, rynek, na który wysyłano mnie przed śniadaniem, ulice, gdzie załatwiałem sprawunki, drogi, którymi się chodziło, kiedy było ładnie. I jak w owej zabawie, w której Japończycy zanurzają w porcelanowym naczyniu pełnym wody kawałeczki papieru z pozorów byle jakie, które, ledwo się zanurzywszy, wydłużają się, skręcają, barwią, różniczkują się, zmieniając się w kwiat, w domy, w wyraźne osoby, tak samo teraz, wszystkie kwiaty z naszego ogrodu i z parku pana Swanna, i lilie wodne z Vivonne, i prości ludzie ze wsi, i ich domki, i kościół, i całe Combray, i jego okolice, wszystko to, przybrawszy kształt i trwałość, wyszło — miasto i ogrody — z mojej filiżanki herbaty.

## II

Z daleka, na dziesięć mil wokoło, widziane z pociągu kiedyśmy tam przybywali w Wielki Tydzień, Combray to był tylko kościół. Kościół streszczał miasto, reprezentował je, mówił o nim i za nie w dal; a kiedy było się zbliżyć, skupiał w szczerym polu doko-

ła swego ciemnego wysokiego płaszcza — niby pasterka chroniąca owce od wiatru — wełniste i szare grzbiety przycupniętych domów, które szczątek średniowiecznych wałów okalał tu i ówdzie linią dokładnie okrągłą, niby małe miasteczko na obrazach prymitywów. Do mieszkania Combray było nieco smutne, tak jak jego ulice. Domy zbudowane z czarniawego miejscowego kamienia, ze schodkami przed bramą, oczepione daszkami rzucającymi przed siebie cień, były dość ciemne, tak iż trzeba było z pierwszym zmrokiem podnosić firanki w „salach”; ulice noszące poważne imiona świętych (z których wielu łączyło się z historią pierwszych panów na Combray): ulica św. Hilarego, ulica św. Jakuba, gdzie był dom ciotki, ulica św. Hildegardy, wzdłuż której biegł parkan i ulica św. Ducha, na którą wychodziła boczna furtka ogrodu; i te ulice Combray istnieją w okolicy mojej pamięci tak odległej, grającej kolorami tak odmiennymi od tych, które obecnie barwią dla mnie świat, że w istocie wydają mi się wszystkie, i wraz z górującym nad nimi kościołem na rynku, bardziej jeszcze nierealne niż obrazy czarnoksiężskiej latarni i że chwilami wydaje mi się, iż móc jeszcze przejść ulicą św. Hilarego, móc wynająć pokój przy ulicy Ptasiej — w starej gospodzie pod *Ustrzelonym Ptakiem*, z której suterren bił zapach potraw, dotąd jeszcze chwilami wznoszący się we mnie, równie ulotny i równie gorący — byłoby drogą do styczności z Zaświatem cudowniejszą i bardziej nadprzyrodzoną niż zapoznanie się z Golem lub rozmowa z Genowefą Brabancką.

Krewniaczka dziadka — moja cioteczna babka — u której mieszkaliśmy, była matką owej ciotki Leonii, która od śmierci męża, wuja Oktawa, nie chciała już opuszczać najpierw Combray, potem w Combray swego domu, potem pokoju, potem łóżka i nie „schodziła” już, wciąż leżąc w nieokreślonym stanie zgryzoty, osłabienia, choroby, manii i dewocji. Jej osobiste mieszkanie wychodziło na ulicę św. Jakuba, która kończyła się o wiele dalej Wielką Łąką (w przeciwieństwie do Małej Łąki, zieleniącej się w środku miasta, między trzema ulicami) i która, jednostajna, szara, z trzema wysokimi kamiennymi schodami prawie przed każdą bramą, zdawała się niby korytarz wyślubiony przez kamieniarza w tym samym kamieniu w którym miał rzeźbić żłóbek albo Mękę Pańską. Ciotcia zajmowała już tylko dwa sąsiadujące pokoje, przebywając popołudniu w jednym, podczas gdy wietrzono drugi. Były to owe prowincjonalne pokoje, które — tak jak w niektórych okolicach całe strefy powietrza albo morza są rozświetlone lub upachnione miriadami niewidocznych dla oka protozoów — czarują nas tysiącem zapachów; a wydzielają je cnoty, rozsądek, nawyki, całe życie duchowe, sekretne, niewidzialne, bogate, unoszące się tam w powietrzu; zapachy niewątpliwie jeszcze naturalne i mające barwę pory roku jak zapachy sąsiednich pól; ale już domowe, ludzkie i zagęszczone niby wyborna, kunsztowna i przeźroczyista galareta z wszystkich dorocznych owoców, które opuściły sad, aby się przenieść do szafy; sezonowe, ale związane z meblami i z domem, łagodzące ostrość szronu słodyczą ciepłego chleba, beczynne i punktualne jak zegar wiejski, beztroskie i systematyczne, niedbałe i przezorne, bieliźniane, poranne, nabożne, szczęśliwe spokojem przynoszącym jedynie wzrost lęku i prozaicznością stanowiącą wielki rezerwuuar poezji dla tego, kto wstąpi tam, ale tam nie mieszkał. Powietrze było nasycone kwiatem ciszy, tak odżywczej i soczystej, żem wchodził do pokoju z rodzajem łakomstwa, zwłaszcza w owe pierwsze zimne jeszcze poranki Wielkiego Tygodnia, w których smakowałem je lepiej, bo dopiero przybyłem do Combray. Zanim wszedłem przywitać się z ciotką, musiałem czekać chwilę w pierwszym pokoju, gdzie słońce, jeszcze zimowe, przyszło ogrzać się przy ogniu, już rozpalonym między dwiema cegłami. Ogień ten powlekał cały pokój zapachem sadzy, robił z niego niby wielki przypiecek wiejski lub okap kominka we dworze, pod którym pragnie się deszczu, śniegu na polu, nawet jakiegoś katastrofalnego potopu, aby do rozkoszy odosobnienia przydać poezję zimowania. Robiłem kilka kroków od kłęcnika do aksamitnych wytłaczanych foteli, zawsze przybranych w miejscu głowy szydełkową robótką. Ogień przypiekał niby ciasto apetyczne zapachy, od których powietrze w pokoju było całe grzłowe, i które już umieścił i wyrobił wilgotny i słoneczny chłód ranka; ogień przekładał je, złościł, gurbił, wydymał, robiąc z nich niewidzialny i dotykalny przysmak godny prowincji, olbrzymiego „napoleonka”. I zaledwie skosztowawszy bardziej chrupiących, delikatniejszych, wybredniejszych, ale też suchszych aromatów szaf, komody, wzorzystych tapet, wracałem, wciąż z utajonym pragnieniem, aby ugrzęznąć we wnikliwym, lepkim, mdłym, niestrawnym i owocowym zapachu kwiecistej kapy na łóżko.

W sąsiednim pokoju słyszałem ciotkę, która rozmawiała z sobą półgłosem. Mówiła

Choroba, Wdowa, Kobieta,  
Przestrzeń

Zapach, Dom

Choroba, Sen, Pozory

zawsze dość cicho, bo wierzyła, że ma w głowie coś pęknięte i ochwiane, co by wstrząsnęła za głośnym mówieniem; ale nigdy, nawet będąc sama, nie wytrwała długo, aby nie powiedzieć czegoś, bo uważała, że to jest zdrowo na gardło i że, pobudzając obieg krwi, łagodzi duszności i lęki, na które cierpiała. Przy tym, żyjąc w absolutnej beczynności, używała najłżejszym wrażeniom nadzwyczajnej wagi; wyposażała je ruchliwością, wskutek której trudno jej było zachować coś dla siebie i w braku powiernika, zwierzała się samej sobie w ustawicznym monologu, który był jedyną formą jej żywotności. Niestety, przywykłyśmy myśleć głośno, nie zawsze uważała, czy nie ma kogo w pokoju obok, toteż często słyszałem, jak mówi sama do siebie: „Muszę sobie dobrze zapamiętać, że nie spałam” (bo nigdy nie spać, było jej wielką ambicją, której pełen szacunku ślad zachował nasz wspólny język: rano, Franciszka nie szła jej „budzić”, ale „zachodziła” do niej; kiedy ciocia chciała się zdrzemnąć w ciągu dnia, mówiono, że chce „pomyśleć trochę”, albo „odpocząć”; a kiedy się jej zdarzyło zapomnieć i powiedzieć w rozmowie: „to mnie obudziło”, albo „śniło mi się, że...”, czerwieniła się i poprawiała się szybko).

Po chwili wchodziłem, aby ją uściskać; Franciszka zaparzała jej herbatę lub, jeżeli ciocia czuła się bardziej nerwowa, żądała zamiast herbaty ziółek. Mnie przypadało wtedy nasypać z papierowej torebki na talerz dawkę kwiatu lipowego, którą trzeba było wsypać do wrzącej wody. Wyschłe lodygi gięły się w fantastyczną siatkę, w której oczkach otwierały się blade kwiaty, jak gdyby je ułożył artysta, jak gdyby im dał najbardziej malownicze kształty. Liście, straciwszy lub odmieniwszy swój wygląd, przybrały postać najrozmaitszych przedmiotów: przejrzystego skrzydła muchy, lewej strony etykiety, płatka róży, ale wszystko jakby zgniecione, zbite lub splecione niby przy budowie gniazda. Tysiąc bezużytecznych szczegółów — urocza rozrzutność aptekarza — które by usunięto przy fabrycznej robocie, dawały mi — niby w książce, w której z zachwytem spotyka się nazwisko znajomej osoby — lubą świadomość, że to są naprawdę szypułki prawdziwych lip, takich jak te, które rosły w alei Dworcowej; że są rozmaite właśnie dlatego; że to nie są imitacje, ale one same, i że się zestarzały. I ponieważ każdy nowy kształt był tylko przeobrażeniem dawnego, w drobnych szarych kulkach poznawałem zielone pączki, którym nie dane było dojrzeć; ale zwłaszcza różowy, księżycowy i łagodny blask, odcinający kwiaty w kruchym lesie szypulek, na których wisiały niby złote różyczki, wskazywał mi — jak światło zdradzające jeszcze na murze miejsce zatartego fresku, różnicę między częściami drzewa, które były, a które nie były kolorowane — że to są te same płatki, które, nim zakwitły w papierowej torebce, napawały zapachem wiosenne wieczory. Ten kolor różowy jak płomień świecy to był jeszcze ich kolor, ale na wpeł przygasły i uspijony w owym zwątlalym życiu, które było teraz ich życiem i które jest jak gdyby zmierzchem kwiatów. Niebawem ciocia mogła skosztować wrzącego naparu o smaku zeschłego liścia lub zwiędłego kwiatu i zamoczyć w nim magdalenkę, której dawała mi kawałek, kiedy ciasto dostatecznie zmiękło.

Z jednej strony łóżka znajdowała się duża żółta komoda z cytrynowego drzewa oraz stół, który miał coś z kredensu i z wielkiego ołtarza, gdzie pod posążkiem Matki Boskiej i flaszką Vichy-Célestins znajdowały się książki do nabożeństwa i recepty lekarskie, wszystko co trzeba, aby z łóżka przestrzegać nabożeństw i diety, nie chybić ani pory pepsyny, ani niesporów. Z drugiej strony łóżko cioci przylegało do okna: miała ulicę przed oczyma; od rana do wieczora dla rozproszenia nudów, na sposób książy perskich czytała w niej codzienną, ale odwieczną kronikę Combray, którą później omawiała z Franciszką.

Nie byłem u cioci ani pięć minut, a już mnie wyprawiała z obawy, abym jej nie zmęczył. Nadstawiała moim ustom smutne, mdłe i blade czoło, na którym o tej rannej godzinie nie ułożyła jeszcze fałszywych włosów i gdzie kości przeświecały niby ostrza cierniowej korony lub ziarenka różańca, i mówiła:

— No, moje dobre dziecko, idź sobie, przygotuj się do mszy; a jeśli na dole spotkasz Franciszkę, powiedz jej, żeby się nie bawiła za długo z wami, niech przyjdzie na górę zobaczyć, czy ja czego nie potrzebuję.

W istocie, Franciszka, która służyła od lat u cioci — nie przeczuwając wówczas, że będzie służyła u nas, zaniedbywała ją po trosze w miesiącach, kiedyśmy tam bawili. W moim dzieciństwie, zanim jeździliśmy do Combray, kiedy ciocia Leonia spędzała jeszcze zimę w Paryżu u swojej matki, był czas, kiedy znałem Franciszkę tak mało, że w dzień Nowego Roku, zanim udałem się do ciotki, mama kładła mi w rękę pięciofrankówkę i powiadała:

Kwiaty

Choroba, Dom

Sługa



— Nie pomyśl się tylko co do osoby: zaczekaj z daniem pieniędzy, aż usłyszysz że powiem: „Dzień dobry, Franciszko” i lekko trąć cię w ramię.

Zaledwie weszliśmy w ciemny korytarz, spostrzegaliśmy w cieniu, pod rurkami lśniaco białego czepka, tak sztywnego i kruchego jak gdyby był z lukru, koncentrycznie sfaladowany uśmiech z góry przygotowanej wdzięczności. To była Franciszka, nieruchoma, stojąca w drzwiczkach korytarza niby posąg świętej w niszy. Kiedy się oko oswoiło z tym kościelnym mrokiem, rozpoznawało się na jej twarzy bezinteresowną miłość ludzkości, potem tkliwość, szacunek dla wyższych klas, podsycany w najlepszych regionach jej serca nadzieją kolędy. Mama szczypała mnie silnie w ramię i mówiła bardzo głośno: „Dzień dobry, Franciszko”. Na ten znak, palce moje otwierały się; wypuszczałem pieniądz, który spotykał gotową na jego przyjęcie rękę, zawstydzoną, ale wyciągniętą.

Ale od czasu, jak jeździliśmy do Combray, Franciszka stała się moją najlepszą znajomą; byliśmy jej ulubieńcami, miała dla nas, przynajmniej w pierwszych latach, obok szacunku równego jej szacunkowi dla cioci, sympatię żywszą, ponieważ łączyliśmy powagę członków rodziny (dla owych niewidzialnych węzłów, które stwarza między członkami jednej rodziny krążenie tej samej krwi, Franciszka miała tyleż czci co jakiś tragik grecki) z urokiem, że nie byliśmy jej zwyczajnym państwem. Z jaką radością przyjmowała nas, żałując, że jeszcze nie ma pięknej pogody, w dniu naszego przybycia tuż przed Wielkanocą, często mroźną jeszcze i wietrzną. Mama pytała ją o córkę i o siostrzeńców, i czy wnuczek jest ładny, i co zamierzają z nim począć, czy podobny jest do swojej babci.

A kiedy już nie było gości, mama, która wiedziała, że Franciszka oplakuje jeszcze swoich zmarłych od wielu lat rodziców, mówiła z nią o nich ze słodyczą, pytała o tysiące szczegółów z ich życia.

Odgadła, że Franciszka nie lubi swego zięcia i że on jej psuje przyjemność towarzystwa córki, z którą przy nim nie mogła rozmawiać tak swobodnie. Toteż, kiedy Franciszka wybierała się do nich o kilka mil od Combray, mama mówiła z uśmiechem:

— Prawda, Franciszko, gdyby Julian musiał wyjść z domu i gdybyś miała Małgosię samą przez cały dzień, martwiłabyś się, ale byś się z tym pogodziła?

A Franciszka mówiła, śmiejąc się:

— Pani wie wszystko: pani jest gorsza niż te promienie X (wymawiała *x* z udaną trudnością i z uśmiechem, jakby żartując z samej siebie, że ona, nieuczona, używa tego naukowego terminu), które sprowadzano dla pani Oktawowej i które widzą, co człowiek ma w sercu.

I zniknęła zawstydzona, że się nią zajmują, może aby nie widziano, że płacze; mama była pierwszą osobą, która jej dała owo słodkie przeświadczenie, że jej życie, jej szczęście, jej chłopskie zgrzyoty mogą przedstawiać coś interesującego, mogą być powodem radości lub smutku nie tylko dla niej. Ciocia godziła się wyrzec trochę Franciszki w czasie naszego pobytu, wiedząc, jak mama lubi pracę tej służącej tak inteligentnej i czynnej. Franciszka była równie piękna o piątę rano w kuchni, w czepku, którego błyszczące i sztywne rurki wyglądały jak z porcelany, co kiedy się wybierała na mszę; wszystko robiła dobrze, pracując jak koń, czy była zdrowa czy nie, ale bez hałasu, tak jakby nie robiła nic; jedyna ze służących ciotki, która, kiedy mama poprosiła o gorącą wodę lub o czarną kawę, przynosiła je naprawdę wrzące. Była z tych sług, którzy na pierwszy rzut oka najmniej są sympatyczni obcemu, może dlatego, że nie ubiegają się o jego sympatię i nie okazują mu względów, wiedząc doskonale, że go nie potrzebują i że raczej pozbyłoby się gościa, niżby odprawiono ich; z tych sług, nad którymi najbardziej trzęsą się chlebobawcy, przekonawszy się o ich prawdziwej wartości i nie dbając o ten powierzchowny blichtr, o tę służalczą przymilność, która robi korzystne wrażenie na gościu, ale która kryje często beznadziejną nieudolność.

Kiedy Franciszka, dopatrzawszy, aby rodzice mieli wszystko, czego trzeba, szła pierwszy raz do cioci Leonii, aby jej podać pepsynę i zapytać, co będzie jadła na śniadanie, nie zdarzyło się prawie, aby nie musiała już wyrazić swego zdania albo udzielić wyjaśnień co do jakiegoś ważnego wydarzenia:

— Franciszko, wyobraź sobie, że pani Goupil była już przeszło o kwadrans spóźniona, kiedy szła po siostrę; niech się bodaj trochę zabawi w drodze, a nie dziwiłoby mnie, gdyby przyszła do kościoła po podniesieniu.

— Tak, to by nie było nic dziwnego — odpowiadała Franciszka.

Sługa

Sługa

— Franciszko, gdybyś była przyszła o pięć minut wcześniej, zobaczyłabyś panią Imbret, jak niosła szparagi dwa razy grubsze niż te od Calotowej; niech się Franciszka dowie przez służącą, gdzie je dostała. Franciszka daje nam w tym roku tyle szparagów we wszelkiej postaci, że mogłaby może postarać się o takie dla naszych paryżan.

— Nie dziwno by mi było, gdyby były od księdza proboszcza — powiadała Franciszka.

— Właśnie, akurat, moja Franciszko — odpowiadała ciotka wzruszając ramionami — od księdza proboszcza! Wiesz dobrze, że jemu się udają tylko cienkie mizerne szparażki. Powiadam ci, że te były grube jak ramię. Nie jak twoje, oczywiście, ale jak moje biedne ramię, które jeszcze tak schudło tego roku.

A potem:

— Franciszko, nie słyszałaś tego dzwonięcia od którego o mało głowa mi nie pękła?

— Nie, proszę pani.

— Och, moje dziecko, musisz mieć tęgą głowę, możesz podziękować panu Bogu. To Magielonka była po doktora Piperaud. Wyszedł zaraz potem z nią i oboje skręcili w ulicę Ptasią. Musiało jakieś dziecko zachorować.

— Och, Boże ty mój! — wdychała Franciszka, niezdolna słyszeć o nieszczęściu, które się zdarzyło komuś obcemu, nawet w odległej stronie świata, aby nie zacząć jęczeć.

— Franciszko, dla kogo to dzwonieli pozgonne? Och, Boże, to pani Rousseau. Toć ja zapomniałam, że ona umarła zeszłej nocy. Och, czas już, żeby dobry Bóg powołał mnie do siebie, nie wiem sama, co się dzieje z moją głową od śmierci biednego Oktawa. Ale ja ci zabieram czas, moje dziecko.

— Och, nie, proszę pani, mój czas nie jest taki drogi; ten, który go stworzył, nie sprzedał go nam. Popatrzę tylko, czy ogień w kuchni nie wygasł.

Tak Franciszka i ciocia Leonia szacowały razem, w ciągu tego rannego posiedzenia, pierwsze wypadki dnia. Ale niekiedy wypadki te przybierały charakter tak tajemniczy i poważny, że ciocia czuła, iż nie zdoła doczekać zjawienia się Franciszki; wówczas cztery straszliwe dzwonniki rozlegały się w domu.

— Ależ, proszę pani, to jeszcze nie jest czas na pepsynę — mówiła Franciszka. — Czy pani słabo się zrobiło?

— Nie, nie, Franciszko, to jest owszem, wiesz dobrze, że teraz mało kiedy bywa żeby mi nie było słabo; któregoś dnia skończę jak pani Rousseau, ani się obejrzę; ale to nie dlatego dzwonię. Pomyśl tylko, widziałam, tak jak ciebie widzę, panią Goupil z jakąś dziewczynką, której nie znam. Poleć no przynieść za dwa su soli od Camusa. Nie sposób, żeby Teodor nie umiał ci powiedzieć, kto to taki.

— To chyba będzie córka pana Pupin — rzekła Franciszka, która wołała załatwić rzecz doraźnym przypuszczeniem, ile że była już od rana dwa razy u Camusa.

— Córka pana Pupin! Co ci się śni, moja dobra Franciszko! I myślisz, że ja bym jej nie poznała?

— Ale ja nie mówię o dużej, proszę pani, ja mówię o smarkatej, która jest na pensji w Jouy. Widzi mi się, że ją już widziała dziś rano.

— A, tak to chyba — mówiła ciocia. — Musiała widać przyjechać na święta. Z pewnością musi tak być. Nie ma co zgadywać, przyjechała na święta. Ale w takim razie doczekamy się lada chwila, jak pani Sazerat pójdzie do siostry na śniadanie. Tak, tak. Widziałam chłopca z cukierni, który niósł torcik! Przekonasz się, że torcik był dla pani Goupil.

— Skoro pani Goupil ma gości, wnet pani zobaczy, jak tuj tuj zaczną się schodzić do niej na śniadanie, bo już zaczyna się robić późno — mówiła Franciszka, która, śpiesząc się sama do kuchni, rada była zostawić ciotce nadzieję tej rozrywki.

— Och, nie wcześniej niż w południe — odpowiadała ciocia z rezygnacją, rzucając na zegar spojrzenie niespokojne, ale ukradkowe, aby nie okazać, że ona, która wyrzekła się wszystkiego, znajduje wszelako w sprawdzeniu, kogo pani Goupil ma na śniadaniu, przyjemność tak żywą, a na nieszczęście odwleczoną przeszło o godzinę. „I jeszcze to wypadnie w czasie mojego śniadania!” dodała półgłosem do siebie. Własne śniadanie było dla niej rozrywką wystarczającą aby nie pragnęła żadnej innej w tym samym czasie. „Nie zapomnisz, słuchaj, dać mi jajek ze śmietaną na płaskim talerzu?” To były jedyne talerze, na których były malowane jakieś historie; ciotkę bawiło odczytywać przy każdym posiłku napis na talerzu, który jej podano tego dnia. Kładła okulary, odcyfrowywała: „Alibaba

i czterdziestu zbójów. Aladyn, czyli cudowna lampa”; i mówiła z uśmiechem: „Bardzo dobrze, bardzo dobrze”.

— Byłabym poszła do Camusa... — mówiła Franciszka, widząc, że jej już ciocia tam nie pośle.

— Ale nie, już nie warto, to z pewnością panna Pupin. Moja dobra Franciszko, przykro mi, żem cię odrywała na darmo.

Ale ciocia wiedziała, że nie na darmo dzwoniła na Franciszkę, bo w Combray osoba, „której się nie zna”, była istotą równie mało prawdopodobną, jak jakieś mitologiczne bóstwo, i w istocie nie przypominało sobie, za każdym razem kiedy na ulicy Św. Ducha albo na rynku ukazało się jedno z owych zdumiewających zjawisk, aby dobrze poprowadzone śledztwo nie sprowadziło w końcu tej bajecznej osobistości do rozmiarów „osoby, którą się zna”, czy to osobiście, czy abstrakcyjnie, w jej stanie cywilnym, w charakterze takiego a takiego pokrewieństwa z mieszkańcami Combray. Albo to był syn pani Sauton, który wrócił z wojska, albo siostrzenica księdza Perdreau, która wyszła z klasztoru; brat proboszcza, poborca w Chateaudun, który przeszedł na emeryturę lub przybył na święta. Widząc ich, można było myśleć przez chwilę ze wzruszeniem, że są w Combray ludzie, których się nie zna, po prostu dlatego, że się ich nie utożsa miło i nie poznało od razu. A przecież na długo wprzód pani Sauton i proboszcz uprzedzali, że oczekują „swoich”. Wieczorem, wróciwszy do domu, szedłem opowiedzieć cioci naszą przechadzkę; jeśli niebacznie rzekłem, żeśmy spotkali koło Starego Mostu kogoś, kogo dziadek nie znał: „Ktoś, kogo dziadek nie zna! — wykrzykiwała. — Cóż za gadanie!” Niemniej wzruszona nieco tą nowiną i chcąc mieć spokojne sumienie, wzywała dziadka.

— Kogo takiego wuj spotkał koło Starego Mostu? podobno kogoś, kogo wuj wcale nie zna?

— Ależ owszem — odpowiadał dziadek — to był Prosper, brat ogrodnika pani Bouilleboeuf..

— A, tak — odpowiadała ciocia uspokojona i trochę zaczerwieniona; i wzruszając ramionami z ironicznym uśmiechem, dodawała:

— Bo mały mi powiadał, żeście spotkali człowieka, którego wuj nie zna!

I zalecano mi, abym był uważniejszy na drugi raz i nie niepokoił cioci odzywając się bez zastanowienia. Tak dobrze znało się w Combray wszystkich, ludzi i zwierzęta, że, kiedy ciocia ujrzała przypadkiem psa „którego nie znała”, myślała o nim bez przerwy, poświęcając temu niepojętemu faktowi swoje zdolności kombinacyjne oraz wolny czas.

— To będzie pies pani Sazerat — mówiła Franciszka bez wielkiego przekonania, ale dla uspokojenia cioci i aby jej oszczędzić „łamana sobie głowy”.

— Tak jakbym ja nie znała psa pani Sazerat! — odpowiadała ciocia, której zmysł krytyczny nie przyjmował faktu tak łatwo.

— A, to będzie nowy pies, którego pan Galopin przywiózł z Lisieux.

— To chyba.

— Zdaje się, że to bardzo poczciwe bydlę — mówiła Franciszka, która miała tę wiadomość od Teodora — mądre jak jaki człowiek, zawsze wesołe, zawsze uprzejmie, zawsze miłusie. Rzadko się trafi, aby pies w tym wieku był taki przyklepny. Proszę pani, teraz już muszę panią zostawić, nie mam czasu na zabawę, już blisko dziesiąta, w piecu nawet niezapalone, a ja mam jeszcze oskrobać szparagi.

— Jak to, Franciszko, znów szparagi! ależ tyś się prawdziwie rozchorowała na szparagi w tym roku, zamęczysz naszych paryżan.

— Ależ nie, proszę pani, one to lubią. Wrócą z kościoła z apetytem i zobaczy pani, że tylko im będą śmigać w rękach.

— Prawda! oni już muszą być w kościele; zakrzętnij się, nie trać czasu. Biegaj dopilnować śniadania.

Gdy tak ciocia uradzała z Franciszką, ja towarzyszyłem rodzicom na mszę. Jakże ja lubiłem nasz kościół, jak dobrze go widzę! Stara kruchta, przez którąśmy wchodziła, czarna, podziurawiona jak warzecha, była krzywa i głęboko wyżłobiona na kantach (tak samo jak kropielnica, do której nas wiodła), jak gdyby lekkie otarcie chust wieśniaczek wchodzących do kościoła i ich nieśmiałych palców biorących wodę święconą, mogło, powtarzane w ciągu wieków, nabyć siły niszczycielskiej, naruszyć kamień i wyżłobić bruzdy takie,

Obcy

Świątynia, Sztuka, Historia,  
Czas

jakie żłobią koła wozów w kamieniu przydrożnym ocierając się o niego co dzień. I płyty grobowe, pod którymi szlachetne prochy spoczywających tam opatów Combray stwarzały dla chóru niby duchową posadzkę, nie były już same martwą i twardą materią, bo czas zmiękczył je i dał im wypłynąć na kształt miodu poza granice własnego prostokąta, który przekroczyły złotą falą, rozpuszczając w niej jakąś kwiecistą gotycką literę, zatapiając białe fiołki marmuru; gdzie indziej znów kurczyły się w swoich granicach, zagęszczając jeszcze eliptyczność łacińskiego napisu, wprowadzając jeden kaprys więcej w rozmieszczenie skróconych zgłosek, zbliżając dwie litery słowa, którego inne litery rozciągnęły się niepomierne. Witraże tego kościoła nigdy tak nie grały jak w dniu, gdy słońca było mało, tak iż jeżeli na dworze było szaro, na pewno w kościele było ładnie. Jeden witraż wypełniała w całej jego wielkości osobistość podobna karcianemu królowi, który żył tam w górze pod kamiennym baldachimem, między niebem a ziemią; w jego skośnym i błękitnym blasku, czasami, w dniu powszednie, w południe, kiedy nie było nabożeństwa — w jednej z owych rzadkich chwil, kiedy kościół, przewiewny, pusty, bardziej ludzki, paradny, migocący w słońcu swoim bogactwem, miał wygląd prawie mieszkalny niby hall z rzeźbionego kamienia i malowanego szkła w stylu średniowiecza — widziało się przyklekającą na chwilę panią Sazerat, kładącą na sąsiednim kłęczniku paczuszkę ptifurów<sup>7</sup>, którą wzięła dopiero co u cukiernika na rogu i którą niosła do domu na śniadanie. W drugim oknie góra różowego śniegu, u której stóp toczyła się bitwa, zdawała się pokrywać szronem sam witraż, wzdymała go mętnymi grudkami niby szybę, na której zostałyby płatki, ale płatki oświecone jakąś jutrzenką — tą samą zapewne, która czerwieniła nastawę ołtarza kolorami tak świeżymi, że zdawały się raczej rzucone tam chwilowo przez jakiś ulotny blask z zewnątrz niż farbą związane na wieki z kamieniem. I wszystkie te witraże były tak dawne, że widziało się tu i ówdzie, jak ich srebrzysta starość lśni się pyłem wieków i ukazuje błyszczący i zużyty do nitki wątek ich delikatnego szklanego haftu. Był tam witraż — wysoki prostokąt podzielony na setkę małych kwadratów, gdzie przeważał błękit, niby wielka talia kart podobnych tym, którymi zabawiano Karola VI; ale czy że jakiś promień zabłysnął, czy moje spojrzenie, poruszywszy się, przebiegło poprzez gasnący na przemian i płonący witraż ruchomym i wspaniałym pożarem, w chwilę potem stroił się w migotliwy blask pawiego ogona; potem drżał i falował w płomienym i fantastycznym deszczu, który spadał kroplami z ciemnego i skalistego sklepienia, wzdłuż mokrych ścian, jak gdybym wszedł z rodzicami niosącymi książki do nabożeństwa do nawy jakiejś grotty rozteczzonej stalaktykami. W chwilę potem, małe romboidalne witraże nabierały głębokiej przejrzystości, niezłomnej twardości szafirów ułożonych płasko na jakimś olbrzymim pektorale; ale poza nimi czuło się ukochańszy niż wszystkie te bogactwa, przelotny uśmiech słońca. Uśmiech ten tak samo rozpoznawało się w błękitnej i łagodnej fali, w której kąpał kamienie, jak na bruku ulicznym lub na słomie targowego placu; i nawet w pierwsze niedziele przedwielkanocne, tuż po naszym przybyciu, uśmiech ten wynagradzał mi to, że ziemia była jeszcze naga i czarna, rozwijając, niby w historycznej wiosnie datującej od następców świętego Ludwika olśniewający i pozłocisty dywan szklanych niezapominajek.

Dwa gobeliny przedstawiały koronację Estery (wedle tradycji, Asuerus miał rysy króla Francji, a Estera rysy pani na Guermites, w której król się kochał). Barwy gobelinu, tonując się, przydały postaciom wyrazu, plastyki, światła. Nieco różowego koloru igrało koło warg Estery poza ich konturem; żółtość jej sukni rozpościerała się tak soczyście, tak tłusto, że przybrała od tego jakieś konsystencji i odcinała się żywo od matowego tła. Zielień drzew, żywa w dolnych partiach materii utkanej z jedwabiu i wełny, ale spłowiała w górze, uwydatniała ponad ciemnymi pniami bledsze wysokie gałęzie, żółknijące, złociste i jakby wpół zatarte nagłym i skośnym blaskiem niewidzialnego słońca. Wszystko to — i cenniejsze jeszcze przedmioty, ofiarowane kościołowi przez osoby będące dla mnie niemal postaciami z legendy (złoty krzyż, rzeźbiony, jak powiadano, przez świętego Eligiusza, a darowany przez króla Dagoberta; grobowiec synów Ludwika Niemieckiego z porfiru i emaliowanej miedzi) — sprawiało iż, kiedyśmy szli do krzesel, posuwałem się przez kościół niby doliną nawiedzaną przez wróżki, gdzie wieśniak cuduje się, widząc

Świątynia, Sztuka, Historia

<sup>7</sup>ptifury (z fr. *petits fours*: herbatniki, paszteciki) — małe ciasteczka deserowe, serwowane do kawy a. herbaty. [przypis edytorski]

w skale, w drzewie, w kałuży, namacalny ślad ich nadprzyrodzonych odwiedzin: wszystko to robiło dla mnie z tego kościoła coś całkowicie odmiennego od reszty miasta. Budowała ta, zajmująca, aby tak rzec, przestrzeń o czterech wymiarach — czwartym wymiarem jest Czas — rozwijała poprzez wieki swoją nawę, która od przeszła do przeszła, od kaplicy do kaplicy zdawała się zwyciężać i przebywać nie tylko kilka metrów, ale kolejne epoki, z których wychodziła zwycięsko: ukrywała szorstki i dziki wiek XI w grubości swoich murów, skąd wyzierał, ze swymi ciężkimi łukami zamurowanymi i oślepienymi przez masywne orcele, jedynie głębokim wcięciem, jakie w pobliżu kruchty żłobiły schody na dzwonnicy; wiek nawet tam zamaskowany wdzięcznymi gotyckimi arkadami, które cisnęły się przed nim zalotnie, niby starsze siostry stojące z uśmiechem przed młodym bratem, nieokrzesanym, burkliwym i źle ubranym, aby go zasłonić obcym. Kościół ten wznosił do nieba ponad rynek swoją wieżę, która widziała świętego Ludwika i zdawała się patrzeć nań jeszcze, a zanurzał się ze swoją kryptą w noc merowińską. Prowadząc nas po omacku pod mrocznym sklepieniem, potężnie unerwionym niby błona olbrzymiego kamiennego nietoperza, Teodor i jego siostra oświecali nas świecą grób małej wnuczki Sigberta, na którym głęboka bruzda — niby ślad kopalnego zwierza — wyżłobiona była, powiadają, „przez kryształową lampę, kiedy, w dniu zamordowania frankońskiej księżniczki, oderwała się sama od złotych łańcuchów przytrzymujących ją w miejscu dzisiejszego chóru i zanurzyła się w kamieniu, który miękko ustąpił pod nią, tak, że kryształ się nie strząsnął, a płomień nie zgasł”.

Czy można doprawdy mówić o absydzie kościoła w Combray? Była tak pospolita, tak wyzuta z wartości artystycznej, a nawet z religijnego porywu! Z zewnątrz, ponieważ skrzyżowanie ulic na które wychodziła, leżało niżej, gruby jej mur wznosił się na podmurowaniu z orceli, nieogładzonych, najeżonych kamykami. Mur ten nie miał nic szczególnie duchownego; okna zdawały się przebite osobliwie wysoko, a wszystko wyglądało raczej na ścianę więzienną niż kościelną. I z pewnością później, kiedy sobie przypominałem wszystkie wspaniałe absydy jakimi widział, nie byłoby mi nigdy przyszło na myśl zestawiać z nimi chór w Combray. Jedynie pewnego dnia na zakręcie prowincjonalnej uliczki spostrzegłem na wprost skrzyżowania trzech ulic mur chropawy i stromy, z oknami przebitymi bardzo wysoko i mającymi ten sam niesymetryczny wygląd, co absyda w Combray. Wówczas nie pytałem się, jak w Chartres albo w Reims, z jaką siłą wyraziło się tam uczucie religijne, ale wykrzyknąłem mimo woli: „Kościół!”

Kościół! Poufały, graniczący przy ulicy św. Hilarego, gdzie znajdowała się jego północna brama, z apteką pana Rapin i z domem pani Loiseau, którego dotykał bezpośrednio; kościół, ten prosty obywatel Combray, który mógłby mieć swój numer przy ulicy, gdyby ulice w Combray miały numery, i pod którym, zda się, listonosz powinien by się zatrzymać rano, kiedy roznosił listy, nim wszedł do pani Loiseau wyszedłszy od pana Rapin. A jednak była między tym kościołem a wszystkim innym granica, której myśl moja nigdy nie zdołała przebyć. Daremnie pani Loiseau hodowała w oknie fuksje, które miały ten płochy zwyczaj, że pozwalały swoim gałęziom wlaźć wszędzie ze spuszczoną głową, i których kwiaty, kiedy były dość duże, nie miały nic pilniejszego niż chłodzić swoje fiołkowe i przekrwione policzki o posępną fasadę kościoła; fuksje nie stawały się przez to dla mnie święte; jeżeli oczy moje nie dostrzegały odstępu między kwiatami a szerniałym kamieniem, którego dotykały kwiaty, duch mój wyczuwał między nimi przepaść.

Poznawało się z bardzo daleka wieżę św. Hilarego, rysującą swoją niezapomnianą sylwetkę na widnokręgu, gdy Combray nie było jeszcze widoczne. Kiedy z pociągu, który w Wielkim Tygodniu przywoził nas z Paryża, ojciec dostrzegał ją przemykającą kolejno po wszystkich bruzdach nieba, migającą we wszystkich kierunkach swoim blaszanym kogutkiem, mówił do nas: „No, bierzcie plecy, jesteście już”. I na jednym z największych spacerów, jaki robiliśmy w Combray, było miejsce, gdzie wąska droga wychodziła nagle na ogromną płaszczyznę zamkniętą na widnokręgu nierówną linią lasów, nad którymi górowało jedynie ostrze wieży św. Hilarego, ale tak cienkie, tak różowe, że zdawało się nakreślone na niebie paznokciem, który by chciał owemu krajobrazowi, dziełu czystej natury, dać lekkie znamię sztuki, jedyny ślad ludzki. Kiedy bardziej z bliska można było ujrzeć resztkę kwadratowej i na wpół zburzonej wieży, która, niższa, wznosiła się obok tamtej, uderzał oko zwłaszcza rdzawy i ciemny kolor kamieni; i w mglisty ranek jesienny,

Przestrzeń

wznosząca się ponad burzliwy fiolet winnic, wydawała się niby purpurowa ruina koloru dzikiego wina.

Często, kiedyśmy wracali, babka zatrzymywała mnie na rynku, aby popatrzeć na wieżę. Z okien pomieszczonych po dwa, jedno nad drugim, z zachowaniem owej celnej i oryginalnej proporcji, która użycza piękności i godności nie tylko twarzom ludzkim, wieża wypuszczała w regularnych odstępach chmary wron. Przez chwilę krążyły kracząc, jak gdyby stare kamienie, które pozwalały im igrzać, nie racząc ich widzieć, stawszy się nagle niemieszkalne i wydzielając pierwiastki nieskończonego ruchu, uderzyły je i odepchnęły. Następnie, porysowawszy we wszystkich kierunkach fioletowy aksamit wieczoru, uspokojone nagle, wsiąkały z powrotem w wieżę, która z wrogiej stawała się przytulna. Niektóre przysiadły tu i ówdzie na szczycie wieżyczki — na pozór bez ruchu, ale chwytając może jakieś owady — niby mewa, która przycupnie nieruchomo jak rybak na grzbiecie fali. Nie bardzo wiedząc czemu, babka odkrywała w wieży Św. Hilarego ów brak pospolitości, pretensji, małostkowości, który kazał jej kochać naturę i dzieła geniuszu. Kochała je i wierzyła w bogactwo ich dobroczynnego wpływu, o ile ręka ludzka — podobna w tym ogrodnikowi ciotki — ich nie pomniejszy. I bez wątpienia każda część kościoła, raz ujrzana, odróżniała się od wszelkiej innej budowli jak gdyby jakąś myślą, którą był nasiąknięty; ale w wieży zdawał się on nabierać świadomości samego siebie, stwierdzać indywidualne i odpowiedzialne istnienie. Wieża mówiła za niego. Sądzę zwłaszcza, że babka bezwiednie widziała w owej wieży to, co miało dla niej największą cenę, naturalność i wrodzony wykwił. Będąc profanką w architekturze, powiadała: „Moje dzieci, drwijcie sobie ze mnie, jeśli chcecie, ona nie jest może piękna wedle reguł, ale jej stary dziwaczny kształt podoba mi się. Jestem pewna, że gdyby grała na fortepianie, nie grałaby *sucho*”. I kiedy patrzyła na tę wieżę śledząc wzrokiem łagodne napięcie, pobożny spadek jej kamiennych płaszczyzn, które zbliżały się do siebie, wznosząc się niby ręce złożone do modlitwy, jednoczyła się tak doskonale z wytryskiem strzały, że spojrzenie jej zdawało się strzelać w górę wraz z nią; a równocześnie uśmiechała się przyjaźnie do starych zużytych kamieni, których jedynie już szczyty oświecał zachód słońca, i które, poczawszy od chwili gdy, stonowane światłem, wchodziły w tę rozslonecznioną strefę, zdawały się naraz wyższe, dalsze niby śpiew podjęty falsetem o oktawę wyżej.

Wieża Św. Hilarego dawała wszystkim zatrudnieniom, wszystkim godzinom, wszystkim widokom miasta ich fizjognomię, uwieńczenie, uświęcenie. Z mojego pokoju mogłem oglądać jedynie jej podstawę krytą łupkiem; ale kiedy w niedzielę widziałem w gorącym letni ranek ten łupek płonący niby czarne słońce, powiadałem sobie: „Mój Boże! dziewiąta! trzeba się zbierać na sumę, jeżeli mam wprzódę zająć uściskać ciocię Leonię” i wiedziałem dokładnie kolor, jaki ma rynek w słońcu, gorąco i kurz na targu, cień, jaki rzuca stora magazynu, gdzie mama zanurzy się może przed mszą w zapach niebielonego płótna, aby kupić jakąś chusteczkę; a pokaże ją mamie, wyginając talię, pryncypał, który, gotując się zamykać, zaszedł właśnie do pokoju za sklepem, aby włożyć świąteczny surdut i umyć ręce, mając zwyczaj co pięć minut, nawet w najbardziej żalonych okolicznościach, zacierać je z miną junacką, hulaszczą i pewną siebie.

Kiedy po mszy wstępowało się powiedzieć Teodorowi, aby przyniósł babkę większą niż zwykle, bo krewniacy nasi skorzystali z pogody i przybyli z Thiberzy na śniadanie, miało się przed sobą wieżę, która, złocista i wypieczona sama niby większa święcona baba, ze skórką i lepącym się lukrem słońca, kłula swoim ostrzem błękit nieba. A wieczorem, kiedy wracałem ze spaceru i myślałem o chwili, gdy trzeba będzie niebawem powiedzieć dobranoc matce i już jej nie ujrzyć — wieża była, przeciwnie, w kończącym się dniu tak łagodna, że wyglądała, jakby ją położono niby poduszkę z ciemnego aksamitu na pobladłym niebie, które ustąpiło pod jej naciskiem, wgłębiając się lekko, aby jej zrobić miejsce i otulając jej brzegi; a krzyki ptaków, które krążyły dokoła, zdawały się wzmagać milczenie wieży, zaostrzać jeszcze jej wierzchołek dając jej coś niewysłowionego.

Nawet w wyprawach, jakie robiliśmy za kościół, tam gdzie jej już nie było widać, wszystko zdawało się rozmieszczone w stosunku do wieży wyłaniającej się nagle tu czy tam spośród domów; bardziej może wzruszającej jeszcze, kiedy się tak zjawiała bez kościoła. I z pewnością są inne wieże, piękniejsze, gdy się je widzi w ten sposób; pomnę sylwety dzwonnicy wyrastających ponad dachy bogatsze artyzmem niż te, które się rodziły

Przestrzeń

Przestrzeń

na smutnych ulicach Combray. Nie zapomnę nigdy, w ciekawym mieście normandzkim sąsiadującym z Balbec, dwóch prześlicznych pałaców z XVIII wieku, które mi są pod wieloma względami drogie i czcigodne, a między którymi, kiedy się patrzy z pięknego ogrodu schodzącego od tarasu ku rzece, wytryska gotycka strzała zakrytego przez nie kościoła, robiąc wrażenie, jakby kończyła, wieńczyła ich fasady, ale materia jej jest tak odmienna, tak wykwintna, tak obrączkowa, tak różana i lśniąca, że widzi się od razu, iż ona tak samo nie stanowi ich części, jak purpurowa i prążkowana strzała jakiejś muszli, skrzyconej w kształt wieży i powleczonej emalią, nie jest częścią dwóch babek z piasku, między którymi znajduje się na plaży. Nawet w Paryżu, w jednej z najbrzydszych dzielnic miasta, znam okno, z którego widzi się za pierwszym, drugim, a nawet trzecim planem, utworzonym ze stłoczonych dachów licznych ulic, kopułę fioletową, czasami rudawą, często także, w najszlachetniejszych „odbitkach” jakie z niej sporządza atmosfera, czarną jak sadza; — owa kopuła, która jest nie czym innym jak kościołem św. Augustyna, daje temu widokowi Paryża charakter niektórych widoków Rzymu przez Piranesiego. Że jednak w żadnej z tych rycin, choćby moja pamięć wykonała je najartystyczniej, nie mogła ona wskrzesić tego, com stracił od dawna, uczucia, które każe nam patrzeć na jakąś rzecz nie jak na widowisko, ale wierzyć w nią jak w istotę jedyną, niezastąpioną, — żadna z nich nie wiąże z sobą całej głębokiej części mojego życia, jak to czyni wspomnienie owych zjawień się wieży w Combray w ulicach położonych za kościołem. Czy się ją oglądało o piątej, kiedy się szło po listy na pocztę, o parę domów od nas, na lewo, wznoszącą się nagle samotnym wierzchołkiem ponad linię dachów; czy, przeciwnie, kiedy, zachodząc się spytać o panią Sazerat, biegło się oczami za tą linią, zniżającą się kolejnymi płaszczyznami, wiedząc, że trzeba będzie skrócić w drugą ulicę za wieżą; czy znowuż, dotarłszy jeszcze dalej, jeżeli się szło na dworzec, widziało się ją z ukosa, ukazującą z profilu żebra i nowe powierzchnie; lub gdy z brzegów Vivonne muskularnie zebrana w sobie i podwyższona perspektywą absyda zdawała się wstawać z wysiłku, jaki czyniła wieża, aby wypuścić strzałę w serce nieba; zawsze do niej trzeba było wracać, zawsze ona górowała nad wszystkim, wieńcząc domy nieoczekiwanym szczytem, wzniesionym przede mną niby palec Boga, którego ciało byłoby ukryte w ciżbie śmiertelnych, ale którego nie pomieszałbym z tą ciżbą.

I dziś jeszcze, gdy w jakimś wielkim prowincjonalnym mieście lub w mało znanej mi dzielnicy Paryża przechodzę, pokazując mi drogę, wskaże w oddali jako punkt orientacyjny jakąś wieżyczkę szpitalną, jakąś dzwonnice klasztorną wznoszącą szpic swojego biretu na rogu szukanej przeze mnie ulicy, wówczas byle tylko pamięć moja mogła bezwiednie znaleźć w niej jakieś podobieństwo z drogą a utraconą postacią, przechodzę, o ile się obróci, aby się przekonać, czym nie zblądził, ujrzy mnie ku swemu zdumieniu, jak, zapominając o celu drogi, stoję tam, przed tą wieżą, godziny całe nieruchomy, próbując sobie przypomnieć, czując w swoim wnętrzu odzyskane nad zapomnieniem ziemie, które osuszają się i odbudowują; i bez wątpienia wówczas, trwożliwiej niż przed chwilą, kiedym go prosił o wskazówki, szukam jeszcze swojej drogi, mijam zakręt... ale... w moim sercu...

Wracając ze mszy, spotykaliśmy często pana Legrandin, inżyniera, który, uwięziony w Paryżu swoim zawodem, mógł, poza wakacjami, wpadać do swojej posiadłości w Combray jedynie od soboty wieczór do poniedziałku rano. Był to jeden z tych ludzi, którzy poza karierą naukową, uwieńczoną zresztą świetnym wynikiem, posiadają kulturę zupełnie odmienną, literacką, artystyczną, zbyteczną dla ich specjalności, ale w zamian korzystną dla ich konwersacji. Bardziej wykształceni literacko niż wielu literatów (nie wiedzieliśmy wówczas, że pan Legrandin zażywa pewnej reputacji jako pisarz i byliśmy bardzo zdziwieni dowiadując się, iż sławny muzyk skomponował utwór do jego wierszy), obdarzeni większą „łatwością ręki” niż wielu malarzy, wyobrażają sobie, że życie, jakie wiodą, nie jest ich właściwym życiem, i wnoszą w swoje pozytywne zatrudnienie bądź to niedbałość zaprawną kaprysem, bądź też wytrwałą i wyniosłą pilność, wzdąrdliwą, sumienną i gorzką. Wysoki, pięknej postawy, o myślącej i subtelnej twarzy z długimi wąsami blond, z okiem błękitnym i pełnym melancholii, niezmiernie grzeczny, *causeur*<sup>8</sup> taki, jakiegośmy nigdy nie słyszeli, był w oczach mojej rodziny — która go cytowała zawsze jako przykład —

<sup>8</sup>*causeur* (fr.) — gawędziarz; osoba umiejąca rozmawiać. [przypis edytorski]

typem człowieka kulturalnego, biorącego życie w sposób najbardziej szlachetny i godny. Babka zarzucała mu jedynie, że mówi trochę za dobrze, trochę zanadto jak książka, że nie ma w tym co mówi owej naturalności, jaką ma w swoich fontazjach „artystycznych”, zawsze swobodnie związanych, w swojej skromnej studenckiej prawie marynarce. Dziwiła się także płomiennym tyradom, w jakich piętnował często arystokrację, życie światowe, snobizm, „zaiste ów grzech, o którym myślał święty Paweł, kiedy mówił o grzechu, dla którego nie ma odpuszczenia”.

Ambicja światowa była uczuciem tak dla niej niepodobnym do odczucia, a nawet zrozumienia, że zdawało się jej bezcelowe wkładać tyle zapалу w potępienie go. Co więcej wydawało się babce niezbyt taktowne, aby pan Legrandin, którego siostra wyszła za mąż gdzieś w pobliżu Balbec za normandzkiego szlachcica, pozwalał sobie na tak gwałtowne ataki przeciw szlachcie, posuwając się aż do gromienia rewolucji za to, że ich wszystkich nie zgilotynowała.

— Cześć, przyjaciele! — rzekł, idąc na nasze spotkanie. — Szczęśliwi jesteście, że tak dużo tu przebywacie; ja muszę jutro wracać do Paryża, do swojej nory.

— Och — dodał z owym łagodnie ironicznym i zrezygnowanym, nieco roztargnionym uśmiechem, który mu był właściwy — oczywiście są w moim domu wszystkie rzeczy bezużyteczne. Brak jedynie tego czego trzeba: wielkiego kawała błękitu, jak tutaj. Staraj się zawsze zachować kawał nieba nad swoim życiem, chłopcze — dodał zwracając się do mnie. Masz piękną duszę, rzadkiej ceny, naturę artysty, nie pozwól, aby jej brakło tego, co najważniejsze.

Kiedy za powrotem ciocia kazała się nas spytać, czy pani Goupil spóźniła się na mszę, niezdolni byliśmy odpowiedzieć. W zamian powiększyliśmy jeszcze jej niepokój, opowiadając, że malarz jakiś kopiuje w kościele witraż Gilberta Złego. Franciszka, natychmiast posłana do sklepiku, wróciła z niczym, wskutek nieobecności Teodora, któremu podwójny jego zawód, śpiewaka zatrudnionego przy kościele i subiekta w sklepie korzennym, dawał dzięki stosunkom ze wszystkimi sferami uniwersalną wiedzę.

— Och — wzdychała ciocia — chciałabym, żeby już przyszła nareszcie Eulalia. Tylko ona potrafi mi to wszystko objaśnić.

Eulalia była to kulawa dziewczyna, energiczna i głucha, „spensjonowana” od śmierci pani de la Bretonnerie, u której służyła od dziecka. Wynajęła sobie obok kościoła pokój, skąd wciąż wybiegała, czy to na nabożeństwo, czy też poza nabożeństwami zmówić krótki pacierz lub pomoc Teodorowi; przez resztę czasu odwiedzała osoby chore jak ciocia Leonia, której opowiadała, co się działo na mszy i niesporach. Nie gardziła przyczynieniem jakichś obrywków do małej renty, jaką jej wypłacała rodzina dawnej chlebobawczyni; zachodziła od czasu do czasu, aby doprowadzić do porządku bieliznę proboszcza lub jakiejś innej wybitnej osobistości z klerikalnego światka. Nosila nad czarną sukienką mantylką białą czapczek niemal zakonny, a choroba skóry dawała miejscami jej policzkom oraz jej zakrzywionemu nosowi żywo różowe tony balsaminy. Wizyty jej były wielką rozrywką cioci Leonii, która nie przyjmowała już prawie nikogo poza proboszczem. Ciocia zlikwidowała pomału wszystkich innych odwiedzających, bo mieli w jej oczach tę wadę, że wchodzili w jedną albo w drugą kategorię ludzi, których nie znosiła. Jedni — gorsi i których pozbyła się najpierw — to byli ci, którzy jej radzili „nie zaglądać w siebie” i głosili — bodaj negatywnie, wyrażając swoje poglądy jedynie chwilami krytycznego milczenia lub sceptycznymi uśmiechami — wywrotową teorię, że spacer na słońcu i krwawy befszytk (kiedy jej leżały przez czternaście godzin w żołądku dwa nędzne łyki Vichy!) zrobiłyby jej o wiele lepiej niż łóżko i lekarstwa. Druga kategoria składała się z osób robiących wrażenie, że wierzą, iż ciocia jest poważniej chora niż myśli, że jest równie poważnie chora, jak mówi. Toteż ci, którym pozwoliła wejść po niejakich wahaniach i na dyplomatyczną interwencję Franciszki i którzy w czasie swojej wizyty okazali, jak bardzo byli niegodni doznanej łaski, ryzykując nieśmiało coś w rodzaju: „Czy pani nie sądzi, że gdyby pani się przeleciała nieco w ładną pogodę...” lub którzy, przeciwnie, kiedy im mówiła: „Źle jest ze mną, moi drodzy, bardzo źle, to już koniec”, odpowiadali; „Och, to bieda, kiedy się nie ma zdrowia! Ale to się jeszcze może ciągnąć” — jedni i drudzy mogli być pewni, że nigdy nie przestąpią jej progu. Franciszka bawiła się przerażoną miną cioci Leonii, kiedy ta z łóżka spostrzegła na ulicy św. Ducha któregoś z natrętów lub usłyszała dźwięk

Sluga

Choroba, Słowo



dzwonka; ale śmiała się jeszcze lepiej, niby z dobrego figła, z zawsze zwycięskich chytrłości cioci w pozbywaniu się gości i z rozczarowanej miny tych, co odchodzili bez rezultatu. W gruncie podziwiała swoją panią, którą miała za coś wyższego od wszystkich tych ludzi, skoro ich nie chce przyjąć! W rezultacie ciocia wymagała równocześnie i żeby pochwalać jej tryb życia, i żeby współczuć z jej cierpieniami, i żeby ją pokrzepiać na przyszłość.

W tym celowała Eulalia. Ciocia mogła jej mówić dwadzieścia razy na minutę: „To już koniec, moja dobra Eulalio”, dwadzieścia razy Eulalia odpowiadała: „Znając swoją chorobę tak, jak pani ją zna, pani Oktawowo, dożyje pani stu lat. To samo nie dalej jak wczoraj mówiła mi pani Sazerin”. (Jednym z najgłębszych przeświadczeń Eulalii, którego poważna ilość sprzeciwów zadawanych przez doświadczenie nie zdołała zachwiać, było to, że pani Sazerat nazywa się pani *Sazerin*.)

— Nie żądam stu lat — odpowiadała ciocia, która wołała, aby nie wyznaczać jej dniom określonego terminu.

Że zaś Eulalia umiała jak nikt rozrywać ciocię nie nużąc jej, wizyty te, przypadające regularnie — poza nieoczekiwaną przeszkodą — w niedziele, były dla cioci przyjemnością, której nadzieja utrzymywała ją w owych dniach w stanie zrazu przyjemnym, ale niebawem bolesnym jak nadmierny głód, o ile Eulalia bodaj trochę się spóźniła. Zbyt przeciągnięta rozkosz oczekiwania obracała się w męczarnię, bez ustanku ciocia spoglądała na zegarek, ziewała, czuła, że się jej robi słabo. Dzwonek Eulalii, gdy zabrzmiał późnym wieczorem, kiedy się go już nie spodziewała, przyprawił ją prawie o omdlenie. Istotnie, w niedzielę myślała wyłącznie o tej wizycie i skoro tylko śniadanie się skończyło, już Franciszce było pilno, abyśmy opuścili jadalnię, a ona aby mogła iść „zabawić” ciocię Leonie. Ale (zwłaszcza od chwili, gdy zagościły w Combray piękne dni), od dawna już dumne południe, zstąpiwszy z wieży zegarowej św. Hilarego, którą stroiło w dwaście ulotnych kwiatów swojej dźwięcznej korony, rozległo się dokoła naszego stołu, obok chleba święconego, który też przybył, równie poufale, wyszedłszy z kościoła, a my jeszcze siedzieliśmy nad talerzami z Tysiąca i jednej Nocy, zmożeni gorącem, a zwłaszcza jedzeniem. Bo do trwałego kapitału jajek, kotletów, ziemniaków, konfitur, biszkoptów, których Franciszka nawet nie zapowiadała, zawsze dodawała coś, zależnie od urodzaju pól i sadów, produktów morza, okoliczności handlu, uprzejmości sąsiadów i jej własnego geniuszu, tak że nasze menu, niby owe czworoliście rzeźbione w XIII wieku na portalach katedr, odbijało po trosze rytm pór roku i wydarzeń. Więc błękitną flądę, bo kupczynie zaręczyła, że jest świeża; indyczkę, bo Franciszka zobaczyła ładną na targu w Roussainville-Le-Pin; karczochy na szpiku, bo nam ich jeszcze nigdy nie przyrządziła w ten sposób; pieczeń baranią, bo świeże powietrze trawi i będzie czas uporać się z nią do siódmej; szpinak dla odmiany, morele, bo to jeszcze rzadkość, porzeczkę, bo za dwa tygodnie już ich nie będzie, maliny, które pan Swann przyniósł umyślnie, wiśnie pierwsze z naszego sadu po dwóch latach nieurodzaju, ser śmietankowy, który dawniej lubiłem, torcik migdałowy, bo go zamówiła w wilię, ciasto drożdżowe, bo na nie była kolej. Kiedy się skończyło to wszystko, zjawiał się przyrządzony oficjalnie dla nas, ale dedykowany osobliwiej ojcu, który był jego amatorem, krem czekoladowy, natchnienie i kokieteria Franciszki: zjawiał się przed nami lekki i zwiewny niby okolicznościowy utwór, w który autorka włożyła cały swój talent. Ten kto by się uchylił od skosztowania mówiąc: „Skończyłem już, nie jestem głodny”, ściągąłby się natychmiast do rzędu prostaków, którzy nawet wówczas, kiedy artysta ofiaruje im swoje dzieło, zwracają uwagę jedynie na wagę i na materiał, gdy tu wyłącznie znaczy intencja i podpis. Zostawić bodaj jedną kroplę na talerzu świadczyłoby o takim samym braku wychowania, co wstać przed końcem produkcji pod nosem kompozytora.

W końcu matka mówiła do mnie: „No, nie siedź tutaj bez końca, idź do swego pokoju jeśli ci za gorąco na dworze, ale idź najpierw odetchnąć chwilę, aby nie zaraz czytać wstawszy od stołu”. Szedłem usiąść w pobliżu studni i wiadra, często zdobnego niby gotyckie tło salamandrą, która rzeźbiła na chropawym kamieniu ruchliwy kontur swego alegorycznego i smukłego ciała. Siadałem na ławce bez oparcia, ocienionej bzem, w zakątku ogrodu, skąd furka dla służby wiodła na ulicę św. Ducha i gdzie na dosyć zaniedbanym terenie wznosiła się na dwóch stopniach, nieco wysuwając się przed dom, niby oddzielny budynek, obszerna spiżarnia. Widać było jej kafelki, czerwone i lśniące jak porfir. Wyglądała nie tyle na jaskinię Franciszki, ile na małą świątynię Wenery.

Jedzenie

Artysta, Jedzenie

Dławiła się od ofiar mleczarza, owocarki, handlarki jarzyn, przybywających często z dość odległego siola, aby tam złożyć pierwociny swoich pól. A dach jej zawsze był uwieńczony gruchaniem gołębic.

Niegdyś nie zasiadywałem się w poświęcanym lasku, który ją otaczał, bo zanim poszedłem czytać, zachodziłem do pokoiku, który zajmował na parterze wuj Adolf, brat dziadka, ex-wojskowy spensjonowany w stopniu majora. Pokój ten, nawet kiedy otwarte okna wpuszczały ciepło — rzadziej promienie słońca, zaledwie tam docierające — wydzielał niewyczerpane ową woń mroczną i chłodną, zarazem leśną i *ancien régime*, która na długo wprawia w zadumę nozdrza, kiedy się wchodzi do niektórych opuszczonych pawilonów myśliwskich. Ale od wielu lat nie wchodziłem do gabinetu wuja Adolfa, ile że wuj nie zjawiał się już w Combray po sprzeczce, jaka zaszła między nim a rodziną z mojej winy, w następujących okolicznościach:

Raz albo dwa razy na miesiąc, w Paryżu, posyłano mnie, abym mu złożył wizytę w momencie, gdy kończył śniadanie, w zwykłej kurtce, usługujący mu zaś lokaj miał na sobie bawełniany roboczy kubrak w białe i fioletowe prążki. Wuj mruczał, że dawno u niego nie byłem, że się go zaniedbuje; częstował mnie marcepanem albo mandarynką, mijaliśmy salon, gdzie nikt nie siedział nigdy, gdzie nigdy nie palił się ogień, salon o ścianach strojnych złożonymi rzeźbami, o sufitach pomalowanych na kolor błękitny, mający udawać niebo i meblach obitych atlasem, jak u dziadków, ale żółtych; po czym przechodziliśmy do pokoju, który wuj nazywał gabinetem do „pracy”. Tam wisiały na ścianach ryciny, przedstawiające na czarnym tle pulchną i różową boginię prowadzącą rydwan, stojącą na globie lub z gwiazdą na czole, jakie lubiono za drugiego Cesarstwa bo widziano w nich styl pompejański, potem zniecierpiano je, a teraz zaczyna się je lubić dla tej jedynej przyczyny (mimo że się podaje inne), a mianowicie że pachną drugim Cesarstwem. I siedziałem tam z wujem do chwili, w której służący przyszedł się go spytać w imieniu stangreta, na którą godzinę ma zaprzęgać. Wuj pograżał się wówczas w medytacji, którą zachwycony lokaj bałby się zmącić bodaj jednym ruchem i której rezultatu — zawsze identycznego — oczekiwał z napięciem. W końcu po głębokim wahaniu wuj wymawiał niechybnie te słowa: „o kwadrans na trzecią”, które lokaj powtarzał ze zdumieniem, ale bez dyskusji; „Kwadrans na trzecią? dobrze... powiem...”

Sluga

W owej epoce kochałem teatr, miłością co prawda platoniczną, bo rodzice nigdy mi jeszcze nie pozwolili iść do teatru. Tak mętnie wyobrażałem sobie rozkosze, których się tam kosztuje, że niedaleki byłem od mniemania iż każdy widz ogląda tam jak w stereoskopie dekoracje widoczne tylko dla niego, mimo iż podobne do tysiąca innych, które ogląda — każdy na swoją rękę — reszta widzów.

Teatr, Sztuka, Słowo

Co rano bieglem aż pod słup z afiszami, aby wyczytać, co za przedstawienia oznajmiono. Nic bezinteresowniejszego i szczęśliwszego niż marzenia ofiarowane mojej wyobraźni przez każdą zapowiedzianą sztukę, zrodzone równocześnie z obrazów nieodłącznych od słów składających tytuł i z barwy afiszów, mokrych jeszcze i pogrubionych od klajstru. Ileż różnych fizjonomii: tytuły owych tajemniczych dzieł jak *Testament Cezara Girodot* albo *Król Edyp*, widniejące nie na zielonym afiszu Opery komicznej, ale na pąsowym Komedii Francuskiej; błyszcząca i biała egretka *Diamentów korony*, gładki tajemniczy atlas *Czarnego Domina*. Wobec tego, że rodzice orzekli, iż za pierwszym razem, kiedy pójdę do teatru, będę mógł wybierać między tymi dwiema sztukami, starałem się zgłębić kolejno tytuły obu — skoro to było wszystko, co o nich wiedziałem — aby w każdym podchwycić rozkosz, jaką mi przyrzekał i porównać ją z tą, którą krył drugi tytuł. Z taką siłą przedstawiałem sobie z jednej strony utwór olśniewający i wspaniały, z drugiej utwór łagodny i aksamitny, że w końcu byłem absolutnie niezdolny rozstrzygnąć, który bym wybrał, tak jakby mi kazano wybierać na deser między ryżem à l'Imperatrice a kremem czekoladowym.

Wszystkie rozmowy z kolegami obracały się dokoła aktorów, których artyzm, mimo że jeszcze mi nieznanym, był pośród wszystkich form, jakie przybiera Sztuka, pierwszą, w której mogłem ją przeczuwać. Między sposobem, w jaki ten lub inny aktor wygłaszał i cieniował tyradę, najdrobniejsze różnice zdawały się nabierać nieobliczalnej wagi. I wedle tego, co mi o nich mówiono, szeregowalem aktorów podług skali talentu w listy, które sobie przepowiadałem cały dzień i które w końcu stwardniały w moim mózgu, krępując go swoją niewzruszonością.

Później, kiedy chodziłem do szkoły, za każdym razem, kiedy w czasie lekcji — korzystając z tego, że nauczyciel odwrócił głowę — korespondowałem z nowym przyjacielem, pierwsze moje pytanie było zawsze, czy już był w teatrze i czy uważa, że największym aktorem jest Got, drugim Delaunay, etc. A jeżeli jego zdaniem Febvre szedł dopiero po Thironie albo Delaunay po Coquelinie, nagle ruchliwość jaką, tracąc swoją kamienną sztywność, Coquelin przybierał w moim mózgu, aby przejść do drugiego rzędu oraz cudowna zwinność i energia duchowa, jakich nabierał Delaunay, aby cofnąć się do czwartego, dawały uczucie rozkwitu i życia memu usprawnionemu i użyźnionemu umysłowi.

Ale jeżeli aktorzy tak mnie pochłaniali, jeżeli widok Maubanta wychodzącego któregoś popołudnia z Komedii Francuskiej przyprawiał mnie o wzruszenia i cierpienia miłości, cóż dopiero nazwisko gwiazdy płonące u bram teatru lub twarz ujrzana za szybą powozu, który przejeżdżał zaprzężony w konie z różami przy uszach. O ileż trwalsze było wzruszenie zrodzone z bezsilnego i bolesnego wysiłku, w jakim starałem się sobie wyobrazić ich życie! Szeregowałem wedle talentu najznakomitsze aktorki; Sarę Bernard, Berme, Bartet, Madeleine Brohan, Jeanne Samary, ale wszystkie interesowały mnie. Otóż wuj znał ich wiele, a także kokoty, których nie odróżniałem zbyt od aktorek. Przyjmował je u siebie. I jeżeliśmy chodzili do wuja tylko w pewne dni to dlatego, że w inne dni bywały u niego kobiety, z którymi jego rodzina nie powinna była się spotkać, przynajmniej wedle jej zdania; bo co się tyczy wuja, już niejedną raz poróżniła go z dziadkiem zbyt łatwość z jaką ładnym wdowom (może nigdy nie zamężnym), hrabinom o szumnych nazwiskach będących z pewnością tylko pseudonimem, robił ten honor, aby je przedstawiać mojej babce, albo nawet dawać im klejnoty rodzinne. Często przy nazwisku aktorki, które zjawiało się w rozmowie, słyszałem, jak ojciec mówił do matki z uśmiechem: „Przyjaciółka twojego stryja”; i myślałem sobie, że, podczas gdy poważni ludzie wyczekiwali może lata całe daremnie pod drzwiami jakiejś kobiety nie odpowiadającej na ich listy i odprowadzającej ich przez odźwiernego, wuj byłby mógł uwolnić od tych prób smarkacza takiego jak ja, przedstawiając go aktorce niedostępnej dla tylu innych, a będącej jego bliską przyjaciółką.

Skorzystałem z pozorów, iż lekcja, którą przełożono wypadała teraz tak nieszczególnie, że kilka razy przeszkodziła mi i miała mi jeszcze przeszkodzić w odwiedzeniu wuja. Jednego dnia, nie tego, który przeznaczono na nasze wizyty, wyzyskując to, że rodzice śniadali owego dnia wcześniej, wyszedłem i zamiast iść oglądać słup z afiszami, na co pozwalano mi wychodzić samemu, pobiegłem do wuja. Zauważyłem przed bramą powóz, konie miały przy uszach czerwone goździki, stangret miał je również w butonierce. Ze schodów usłyszałem śmiech i głos kobiety; skoro zadzwoniłem — cisza, potem hałas zamykanych drzwi. Lokaj, który mi otworzył wydał się zakłopotany moim widokiem; powiedział, że wuj jest bardzo zajęty, że pewno nie będzie mnie mógł przyjąć. Kiedy mimo to służący poszedł mnie oznajmić, ten sam głos, który wprzód słyszałem, mówił:

— Och, tak, pozwól mu wejść; tylko na chwilę, toby mnie tak bawiło. Na fotografii, która jest na twoim biurku, taki jest podobny do swojej mamusi, twojej bratanicy, której fotografia stoi obok niego, prawda? Chciałabym widzieć tego malca tylko na chwilę.

Słyszałem, jak wuj coś mamroce, gniewa się, w końcu lokaj wprowadził mnie.

Na stole stał ten sam talerz z marcepanami co zazwyczaj; wuj miał swoją zwykłą kurtkę, ale na wprost niego, w różowej jedwabnej sukni, z wielkim sznurem pereł na szyi, siedziała młoda kobieta, kończąc mandarynkę. Niepewność, jak wypada ją tytułować przyprawiła mnie o rumieniec; nie śmiejąc zbyt obrócić oczu w jej stronę z obawy, aby nie trzeba było do niej przemówić, podszedłem uściskać wuja. Patrzała na mnie z uśmiechem; wuj powiedział: „Mój bratanek”, nie mówiąc jej mojego, ani mnie jej nazwiska z pewnością dlatego, że od czasu nieprzyjemności, jakie miał od dziadka starał się, o ile możliwe, unikać wszelkiej łączności między swoją rodziną a tym rodzajem stosunków.

— Jaki on podobny do matki — rzekła.

— Ależ pani ją widziała tylko na fotografii — odparł żywo wuj naburmuszony.

— Przepraszam cię, mój drogi, ale minęłam się z nią na schodach w zeszłym roku, kiedy byłeś taki chory. Prawda, że widziałam ją tylko przez mgnienie oka i że pańskie schody są bardzo ciemne, ale to mi wystarczyło, abym była oczarowana. Ten młody człowiek ma jej piękne oczy i także to — rzekła kreśląc palcem linię u nasady czoła. Czy jego matka nosi to samo nazwisko co ty? — spytała wuja.

— Podobny jest zwłaszcza do ojca — mruknął wuj, który równie nie kwapił się do prezentacji na odległość co z bliska. — To wykapany ojciec, a także moja biedna matka.

— Nie znam jego ojca, — rzekła różowa dama z lekkim ruchem głowy — a nigdy nie znalazłam pańskiej biednej matki. Przypominasz sobie, to niedługo po twoim wielkim zmartwieniu poznaliśmy się.

Doznałem lekkiego zawodu, bo ta młoda dama nie różniła się od innych ładnych kobiet jakie czasami widywałem w rodzinie, zwłaszcza od córki jednego z naszych krewniaków, do którego chodziłem zawsze w Nowy Rok. Lepiej jedynie ubrana, przyjaciółka wuja miała to samo żywe dobre spojrzenie, miała wyraz równie kochający i szczery. Nie znajdowałem w niej nic z owego wyglądu teatralnego, który podziwiałem na fotografiach aktorek, ani diabolicznego wyrazu, który byłby w harmonii z życiem, jakie musiała prowadzić. Trudno mi było uwierzyć, aby to była kokota, a zwłaszcza nie byłbym myślał, że to jest „wielka kokota”, gdybym nie był widział dwukonnego powozu, różowej sukni, naszyjnika pereł, gdybym nie wiedział, że wuj zna tylko pierwszorzędne. Ale pytałem sam siebie, jaki milioner, opłacający jej powóz, willę i klejnoty, może znajdować przyjemność w tym, aby tracić majątek dla osoby wyglądającej tak skromnie i tak przyzwoicie. A jednak kiedy myślałem o tym, czym musiało być jej życie, niemoralność jego niepokoiła mnie może więcej, niż gdyby się była skonkretyzowała przede mną w osobliwej postaci — przez to, że była tak niewidoczna jak tajemnica jakiegoś romansu, jakiegoś skandalu, który kazał jej opuścić czcigodnych rodziców i wydał ją na pastwę całego świata; który rozwinął jej piękność i wznosił aż do półświatka i sławy tę, którą gra fizjonomii, ton głosu, podobne do tylu innych znajomych mi kobiet, kazały mi mimo woli uważać za młodą pannę z dobrej rodziny — ją, nienależącą już do żadnej rodziny.

Przeszliśmy do „gabinetu do pracy”; wuj, nieco zakłopotany moją obecnością, począł stawać damę papierosem.

— Nie — rzekła — kochanie, wiesz, że jestem przyzwyczajona do tych, które mi przysłała Wielki Książę. Powiedziałam mu, że jesteś o nie zazdrosny.

I wydobyła z etui papierosy pokryte cudzoziemskimi i złoconymi napisami.

— Ależ tak — dodała po chwili — musiałam spotkać tutaj ojca tego młodego człowieka. Czy to nie jest twój bratanek? Jak ja go mogłam zapomnieć. Był taki dobry, taki uroczy dla mnie — rzekła ze skromną i tkliwą miną.

Ale na myśl czym musiało być szorstkie zachowanie się ojca, które niby to wydało się jej tak miłe, ja który znałem jego sztywność i chłód, byłem zakłopotany — jakby jakąś jego niedelikatnością — tą dysproporcją między nadmierną wdzięcznością, jaką mu płacono, a jego niedostateczną uprzejmością. Uważałem później, że to jest jedna ze wzruszających stron tych kobiet, bezczynnych i pracowitych, iż poświęcają swoją wspaniałość, swój talent, swoje potencjalne marzenia o piękności duszy — bo, jak artyści, nie realizują ich, nie wprowadzają ich w kadry codziennego życia — i złoto, które niewiele je kosztuje, na to aby cenną i delikatną oprawą wzbogacić surowe i dość nieokrzesane życie mężczyzn. I ona, tak jak w pokoju, gdzie wuj przyjmował ją w kurtce, roztaczała swoje ciało tak słodkie, swoją różową jedwabną suknię, swoje perły, elegancję płynącą z przyjaźni Wielkiego Księcia, tak samo wzięła jakieś nieznaczące słówko ojca, opracowała je delikatnie, dała mu wdzięk, szacowną nazwę i oprawiając w nie jedno ze swoich spojrzeń tak pięknej wody, zabarwione pokorą i wdzięcznością, zwracała je zmienione w artystyczny klejnot, w „coś całkiem uroczonego”.

— No, słuchaj chłopcze, już pora na ciebie — rzekł wuj.

Wstałem, miałem nieodpartą ochotę pocałować w rękę różową damę, ale zdawało mi się, że to byłoby coś tak zuchwałego jak wykradzenie. Serce biło mi, gdy sobie mówiłem; „Trzeba, czy nie trzeba”, po czym przestałem się zastanawiać, co trzeba zrobić, aby móc w ogóle coś zrobić. Ślepym i szalonym gestem, wyzutym ze wszystkich racji, które znajdowałem przed chwilą na jego korzyść, podniosłem do ust rękę, którą mi dama podała.

— Jaki on milusi! już jest galant, ma feblika do kobiet, ma to po swoim wujciu. To będzie skończony gentleman — dodała ściskając zęby, aby dać temu słowu lekko brytyjski akcent. — Czy nie mógłby kiedy przyjść na *a cup of tea*, jak mówią nasi sąsiedzi Anglicy; wystarczy, żeby mi przesłał pneumatyk rano.

Kobieta „upadła”

Kobieta, Mężczyzna,  
Kobieta „upadła”

Nie wiedziałem, co to jest pneumatyk. Nie rozumiałem połowy słów, które mówiła ta dama, ale obawa, aby się w tym nie kryło jakieś pytanie na które byłoby niegrzecznie nie odpowiedzieć, kazała mi ich słuchać z wytężoną uwagą, co mnie bardzo męczyło.

— Ale nie, to niemożliwe — rzekł wuj, wzruszając ramionami — jego trzymają bardzo krótko, dużo pracuje. Bierze wszystkie nagrody w szkole — dodał cicho, iżbym nie usłyszał tego kłamstwa i nie zaprzeczył. — Kto wie, to będzie może mały Viktor Hugo, może jaki Vaulabelle, pojmujesz...

— Uwielbiam artystów — odparła różowa dama; — oni jedni rozumieją kobietę... Tylko oni i ludzie wybrani, tacy jak pan. Daruj moją nieświadomość, drogi przyjacielu: kto jest Vaulabelle? Czy to te złocone tomy, które są w oszklonej szafce w twoim buduarze? Przrzekłeś mi je pożyczyć, będę o nie bardzo dbała.

Wuj, który nie cierpiał pożyczać książek, nie odpowiedział nic i odprowadził mnie aż do przedpokojku. Rozpłomieniony miłością do różowej damy, okrywałem szalonymi pocałunkami zadymione policzki starego wuja. Podczas gdy on, dość zakłopotany, dawał mi do zrozumienia, nie śmiejąc tego powiedzieć otwarcie, że wołałby, abym nie wspominał o tej wizycie rodzicom, ja powtarzałem ze łzami w oczach, iż pamięć jego dobroci jest we mnie tak silna, że kiedyś znajdę sposób okazania mu swojej wdzięczności. Była w istocie tak silna, że w dwie godziny później, po kilku tajemniczych zdaniach, które nie dały rodzicom dość jasnego pojęcia o nowym dostojeństwie, jakim czułem się obleczone, uważałem za właściwsze opowiedzieć im z najmniejszymi szczegółami swoją wizytę. Nie przypuszczałem, że mogę tym ściągnąć na wuja przykrości. Jakżeby przypuszczał, skoro tego nie chciałem! I nie mogłem zgadnąć, że rodzice ujrzą coś złego w wizycie, w której ja nic złego nie widziałem. Czy nie zdarza się co dzień, że przyjaciel prosi nas, abyśmy nie zapomnieli wytłumaczyć go przed kobietą, do której nie mógł napisać, a my zaniedbujemy to uczynić, sądząc, że ona nie może przywiązywać wagi do milczenia tak obojętnego dla nas. Wyobrażałem sobie jak wszyscy, że mózg innych jest bezwładnym i uległym odbiornikiem bez swoistej władzy oddziaływania na wszystko, co się doń wprowadza; i nie wątpiłem, że, składając w mózgu rodziców wiadomość o znajomości jaką dzięki Wujowi zawarłem, przelewam w nich, tak jak tego pragnąłem, własny życzliwy sąd o tej prezentacji.

Nieszczęściem w ocenie postępków wuja rodzice odwołali się do zasad całkowicie różnych od tych, które ja im sugerowałem. Ojciec i dziadek doszli z nim do bardzo gwałtownych wyjaśnień: dowiedziałem się o tym pośrednio. W kilka dni później, spotkawszy na ulicy wuja jadącego otwartym powozem, uczułem ból, wdzięczność, żal, które byłbym chciał mu wyrazić. Wobec ich ogromu uznałem, że prosty ukłon byłby czymś zbyt mizernym i że mógłby obudzić w wuju urojenie, iż poczuwam się w stosunku do niego jedynie do banalnej grzeczności. Wolałem wstrzymać się od tego niewystarczającego gestu i odwrócić głowę. Wuj myślał, że się w tym trzymam rozkazu rodziców, nie przebaczył im tego i umarł w wiele lat później, nie ujrawszy nikogo z nas na oczy.

Toteż nie wchodziłem już do zamkniętego obecnie pokoiku wuja Adolfa i krążyłem w okolicach spiżarni, kiedy Franciszka, spostrzegłszy mnie na podwórzu, rzekła: „Każę dziewczynie podać kawę i zanieść na górę ciepłą wodę, muszę lecieć do pani Oktawowej”. Wówczas zdecydowałem się wrócić i szedłem wprost do siebie czytać.

„Dziewczyna” to była istota abstrakcyjna, trwała instytucja, której nieodmienne atrybuty stworzyły rodzaj ciągłości i tożsamości poprzez kolejność przemijających form, w które się wcielała; nie było bowiem nigdy jednej i tej samej przez dwa lata z rzędu. W roku, w którym jedliśmy tyle szparagów, dziewczyna obowiązana z urzędu skrobać je, była to biedna, chorowita istota, dość daleko posunięta w ciąży w chwili, gdyśmy przybyli na Wielkanoc; dziwiono się nawet, że Franciszka pozwala jej tyle latać z posyłkami i tyle robić, zaczynała bowiem z trudem dźwigać przed sobą tajemniczy koszyk, z każdym dniem pełniejszy, którego dostojeństwo odgadywało się pod obszernym kaftanem. Kaftan ten przypominał oponczkę okrywającą niektóre symboliczne figury Giotta, których pan Swann dał mi fotografie. To on zwrócił naszą uwagę na to, i kiedy nas pytał o zdrowie pomywaczki, mówił: „Jak się miewa Caritas Giotta?”

Zresztą i ona sama, biedna dziewczyna, spulchniona przez ciążę, aż do twarzy, aż do policzków, które zwiślały proste i kwadratowe, dosyć była w istocie podobna do owych tęgich i męskich dziewic, raczej matron, których cnoty upostaciowały się w Arenie. I zdają

Grzeczność, Obyczaje

Kobieta, Sztuka, Ciało

sobie sprawę obecnie, że owe Cnoty i Przywary padewskie były do niej podobne jeszcze i na inny sposób. Tak samo jak obraz tej dziewczyny urósł przez dodatkowy symbol, który nosiła przed swoim brzuchem — nie wyglądając na to, aby rozumiała jego sens i w niczym nie odbijając na swojej twarzy piękności i ducha tego symbolu — niby zwykle i uciążliwe brzemię, tak samo, nie zdając się podejrzewać tego, potężna megera przedstawiona w *Arenie* pod mianem „Miłosierdzia”, której reprodukcja wisiała w moim studio w Combray, ucieleśnia tę cnotę, mimo iż żadne pojęcie miłosierdzia nie mogłoby się wyrazić w jej energicznej i pospolitej twarzy. Piękna myśl malarza każe jej deptać skarby ziemi, ale absolutnie tak, jakby deptała winogrona, aby z nich wycisnąć sok, lub raczej jakby wstąpiła na worki, aby wyleźć wyżej; ofiarowuje Bogu swoje płomienne serce, a raczej, powiedzmy, podaje mu je tak, jak kucharka podaje korkociąg przez okienko z suterenu komuś, kto go zażąda z okna na parterze. „Zawiść” prędzej mogła już mieć jakiś wyraz zawiści. Ale i w tym fresku symbol zajmuje tyle miejsca i jest przedstawiony tak realnie; wąż, który syczy u warg zawiści jest tak gruby, wypełnia tak szczelnie jej wielkie otwarte usta, że, aby go móc pomieścić, mięśnie jej twarzy rozciągają się niby mięśnie dziecka nadymającego balon, a uwaga Zawiści — i nasza zarazem — całkowicie kupiona na czynności jej warg, nie ma prawie czasu na oddanie się zawistnym myślom.

Mimo całego podziwu jaki Swann głosił dla tych figur Giotto, długo nie znajdowałem żadnej przyjemności w oglądaniu ich w naszym studio, gdzie zawieszono kopie które mi przywiózł, owo *Miłosierdzie* bez miłosierdzia, *Zawiść*, która robiła wrażenie ryciny w dziele medycznym, objaśniającej ucisk języczka przez guz języka lub przez instrument operatora; *Sprawiedliwość* przypominająca swoją szarą i głupio regularną twarzą niektóre ładne mieszcзки, pobożne i oschłe, które widywałem w Combray na mszy i których większość tworzyła raczej rezerwy armii niesprawiedliwości. Ale później zrozumiałem, że porywająca dziwność, że swoiste piękno tych fresków zależą od wielkiej roli, jaką gra w nich symbol; a to że jest przedstawiony nie jako symbol (skoro nie wyraża usymbolizowanej myśli) ale jako rzeczywistość, jako coś w istocie doznanego lub traktowanego materialnie, dawało dziełu coś dosłowniejszego, ściślejszego, czyniło jego naukę konkretniejszą, wymowniejszą. Czyż uwagi biednej pomywaczki także wciąż nie sprowadzał do brzucha ciężar, który go ciągnął? Tak samo myśl konających bardzo często obraca się ku stronie rzeczowej, bolesnej, tajemnej, bebeczowej, ku owej podszewce śmierci, która właśnie ukazuje im tę stronę, dając im ją twardo odczuć, i o wiele podobniejsza jest do ciężaru, który ich miażdży, do trudności oddychania, do potrzeby picia niż do tego, co nazywamy pojęciem śmierci.

Musiały te Cnoty i te Grzechy padewskie mieć w sobie wiele prawdy realnej, skoro wydawały mi się równie żywe, co służąca w ciąży, przy czym ona sama zdawała mi się nie o wiele mniej alegoryczna. I może ten brak udziału (przynajmniej pozorny) duszy jakiejś istoty w działającej przez nią cnotcie posiada również, poza swoją wartością estetyczną, realność jeżeli nie psychologiczną, to bodaj, jak to mówi, fizjognomiczną. Kiedy później miałem sposobność spotkać w ciągu mego życia, w klasztorach na przykład, naprawdę święte wcielenia czynnego miłosierdzia, zazwyczaj miały one żwawe, praktyczne, obojętne i szorstkie wzięcie śpieszącego się chirurga, ową twarz, na której nie widzi się żadnego współczucia, żadnego rozczulenia wobec ludzkich cierpień, żadnej obawy urażenia ich; — pozbawioną słodyczy, antypatyczną i wzniosłą twarz prawdziwej dobroci.

Podczas gdy dziewczyna kuchenna — uwydatniając mimo woli wyższość Franciszki, jak Błąd, siłą kontrastu, czyni tym świetniejszym tryumf Prawdy — podawała kawę, która, zdaniem mamy, była tylko gorącą wodą, i szła potem na górę zanieść gorącą wodę, która była ledwo ciepła, wyciągałem się na łóżku z książką w ręce, w swoim pokoju który, za zamkniętymi prawie okiennicami, bronił ze drżeniem swego przeźroczystego i kruche go chłodu przeciw popołudniowemu słońcu. Ale blask dzienny zdołał w nie wsunąć swoje żółte skrzydła i tkwił nieruchomo między drzewem a szybą w kąci, niby przycupnięty motyl. Było zaledwie dość jasno na to, aby czytać; wrażenie blasku i światła dawały mi jedynie ciosy, jakie na ulicy de la Cure wymierzał w zakurzone skrzynie Camus, uprzedzony przez Franciszkę, że ciotka nie „odpoczywa” i że można hałasować. Uderzenia te, rozlegając się w akustycznym powietrzu właściwym upalnym dniom, zdawały się słać daleko w przestrzeń szkarłatne gwiazdy. Wrażenie lata dawały mi także muchy, które wykonywały przede mną swój koncert niby letnią muzykę kameralną; nie wyczarowuje ona

lata na sposób muzyki ludzkiej, która, usłyszana przypadkiem w piękny czas, przypomina go wam później; spojona jest z latem istotniejszym węzłem; urodzona z pogodnych dni, odradzając się tylko wraz z nimi, zawierając nieco ich substancji, budzi nie tylko ich obraz w naszej pamięci, ale zaświadcza ich powrót, ich rzeczywistość, otaczającą nas, bezpośrednio dostępną obecność.

Ten mroczny chłód pokoju był w stosunku do słonecznej ulicy tym, czym cień dla promienia, to znaczy również dzieckiem światła, i dawał mojej wyobraźni całkowite widowisko lata, którego moje zmysły, gdybym był na przechadzce, mogłyby zażywać jedynie partiami; w ten sposób godził się bohrze z moim spoczynkiem, który (dzięki wzruszającym przygodom opowiadanych przez książki), podobny spokojowi nieruchomej ręki w bieżącej wodzie, odczuwał wstrząs i życie strumienia wypadków.

Ale, nawet jeżeli po zbyt upale zachmurzyło się, jeżeli nawet zdarzyła się burza lub wichura, babka błagała mnie, abym wyszedł na powietrze. I, nie chcąc wyrzec się czytania, szedłem bodaj kontynuować je w chodzie pod kasztanem, w plecionej budce, w której rozsiadałem się, myśląc, że jestem dobrze schowany w razie, gdyby ktoś przyszedł z wizytą do rodziców.

I czyż myśl moja nie była również niby kołyska, w której czułem się zagłębiony, nawet wówczas gdy patrzyłem na to, co się dzieje zewnątrz? Kiedy widziałem jakiś przedmiot, świadomość, że go widzę, pozostawała między mną a nim, okalając go wąską obwódką duchową, która nie pozwalała mi nigdy bezpośrednio dotknąć jego materii; ulatniała się niejako, zanim z nią wszedłem w styczność, tak jak rozżarzone ciało, które zbliżymy do mokrego przedmiotu nie dotyka jego wilgoci, ponieważ zawsze poprzedza je strefa pary. Podczas gdy czytałem, świadomość moja rozwijała na wielobarwnym ekranie równoczesne a różne stany duszy, idące od najgłębiej we mnie ukrytych popędów aż do całkowicie zewnętrznej wizji widnokągu, który miałem przed oczami na skraju ogrodu; ale czymś najbardziej we mnie osobistym, wnętrzem, rękojeścią w bezustannym ruchu, która poruszała wszystkim innym, była moja wiara w filozoficzne bogactwo, w piękno książki, którą czytałem, oraz żądza przyswojenia sobie tego piękna bez względu na rodzaj książki. Bo nawet jeżeli kupiłem ją w Combray — spostrzegłszy ją na wystawie kolonialnego sklepu Borange'a, zbyt odległego od domu, aby Franciszka mogła się tam zaopatrywać jak u Camusa, ale bardziej odwiedzanego jako skład papieru i księgarnia — umocowaną sznurkami w mozaice broszur i pism, strojącej skrzydła drzwi bardziej tajemniczych, bardziej usianych myślami niż brama katedry, to dlatego, że poznałem w niej jakiś głośny utwór cytowany mi przez profesora lub przez tego z kolegów, który w owej epoce posiadał w moich oczach tajemnice prawdy i piękności, na wpół przeczuwane, na wpół niezrozumiałe, a których poznanie było mglistym, lecz ustawicznym celem mojej myśli.

Po tej centralnej wierze, która w czasie mojej lektury przeżyła się wciąż we mnie ku odkryciu prawdy, szły wzruszenia czerpane w akcji w której brałem udział, bo owe popołudnia bardziej były wypełnione dramatycznymi wypadkami niż bywa często całe życie. Były to zdarzenia spełniające się w czytanej książce; zapewne, że osoby, których dotyczyły, nie były „prawdziwe”, jak mówiła Franciszka. Ale wszystkie uczucia, które w nas budzi radość lub niedola osobistości realnej, rodzą się w nas jedynie za pośrednictwem obrazu owej radości lub niedoli. Pomysłowość pierwszego powieściopisarza polegała na zrozumieniu, że w aparacie naszych wzruszeń obraz jest jedynym istotnym czynnikiem, uproszczenie zaś, które by polegało na całkowitym usunięciu realnych osób, byłoby najwyższym udoskonaleniem. Istota rzeczywistości, choćbyśmy najgłębiej z nią sympatyzowali, w znacznej części udziela się nam przez nasze zmysły, to znaczy zostaje dla nas nieprzeźroczysta, przedstawia martwy ciężar, którego nasza wrażliwość nie może podnieść. Skoro ją ugodzi nieszczęście, zdoła nas ono wzruszyć jedynie w małej części całkowitego pojęcia, jakie mamy o niej; co więcej, i ona zdoła się nim wzruszyć jedynie w części całkowitego pojęcia, jakie ma o sobie. Wynalazkiem powieściopisarza był pomysł, aby zastąpić owe nieprzenikliwe dla duszy części przez odpowiednią ilość części niematerialnych, to znaczy tych, które nasza dusza może zasymilować. Cóż znaczy z tą chwilą, czy uczynki, wzruszenia tych nowych istot wydadzą się nam prawdziwe, skorośmy je wcielili w siebie, skoro się spełniają w nas i, podczas gdy obracamy gorączkowo karty książki, trzymając w swej władzy szybkość naszego oddechu i napięcie wzroku. I skoro raz powieściopisarz wprowadził nas w ten stan, w którym jak we wszystkich czysto wewnętrznych stanach

Obraz świata, Książka,  
Sztuka, Prawda

Sen, Marzenie, Wiedza

wszelkie wzruszenie jest dziesięciokrotnie, w którym książka wzrusza nas na kształt snu, ale snu jaśniejszego niż te, które przeżywamy śpiąc i trwalszego we wspomnieniu, wówczas rozpętuje w jednej godzinie wszystkie możliwe szczęścia i nieszczęścia. W życiu musielibyśmy je nieraz poznawać w ciągu wielu lat; — najsilniejsze nigdy by się nam nie uświadomiły, ponieważ powolność, z jaką się przejawiają odbiera nam ich poczucie. I tak nasze serce odmienia się w życiu i to jest największy ból; ale poznajemy ten ból jedynie w czytaniu, w wyobraźni; w rzeczywistości odmienia się ono tak, jak spełniają się niektóre zjawiska natury, na tyle wolno, iż, o ile możemy stwierdzić kolejno każdy z rozmaitych stanów, w zamian za to poczucie samej zmiany umyka się nam.

Już mniej zrośnięty z moim ciałem od działających osób szedł następnie mglisto rozwijający się przede mną krajobraz, w którym się toczyła akcja. Ale i on miał na moją myśl o wiele większy wpływ niż rzeczywisty pejzaż, który miałem przed oczami, kiedy je oderwałem od książki. I tak przez dwa lata w skwarze ogrodu w Combray odczuwałem za sprawą książki, którą czytałem wówczas, nostalgię krainy górzystej i obficie nawodnionej, gdzie bym ujrzał wiele tartaków i gdzie, w głębi czystej wody, gniją kawały drzewa pod kożuchami rzęsy; opodal pięły się wzdłuż niskich murów pęki fioletowych i czerwonych kwiatów. A że marzenie o kobiecie która by mnie kochała wciąż było obecne mojej myśli, w owe lata marzenie to było nasycone chłodem bieżącej wody; i kimkolwiek była kobieta, którą sobie stwarzałem, pęki fioletowych i czerwonych kwiatów wznosiły się natychmiast po obu jej stronach niby barwy dopełniające.

Było to nie tylko dlatego, że obraz, o którym marzymy zawsze pozostaje naznaczony i upiękaszony odbłaskiem obcych kolorów, które przypadkowo otaczają go w naszym marzeniu; krajobrazy bowiem książek, które czytałem nie były dla mnie czymś analogicznym do widoków Combray, żywiej jedynie odbijającym się w mojej wyobraźni. Sugestia autora, wiara, z jaką myśl moja przyjmowała jego słowa niby objawienie, czyniły mi ów urojony krajobraz istotną częścią samej Natury, godną by ją studiować i zgłębić; a wrażenia tego nie dawała mi prawie nigdy okolica, w której się znajdowałem, a zwłaszcza nasz ogród, prozaiczny wytwór poprawnej wyobraźni ogrodnika, którego lekceważyła moja babka.

Gdyby rodzice pozwolili mi, kiedy czytałem jakąś książkę, odwiedzić strony, które opisuje, miałbym uczucie, że robię nieoszacowany krok w zdobywaniu prawdy. Jeżeli bowiem ma się wrażenie, że się jest zawsze otoczonym swoją duszą, nie znaczy to aby ona była nieruchomym więzieniem; raczej unosi nas wraz z nią ustawiczny pęd ku temu, aby z niej wyjść, aby się wydostać na zewnątrz, przy czym z uczuciem zniechęcenia słyszymy wciąż dokoła siebie ów identyczny dźwięk, który nie jest echem z zewnątrz, ale odgłosem naszego wewnętrznego drgania. Silimy się odnaleźć na wszystkich rzeczach szacowny odbłask naszej własnej duszy; doznajemy zawodu stwierdzając, że w naturze są one odarte z uroku jaki zawdzięczały w naszej myśli sąsiedztwu pewnych pojęć; czasami zmieniamy wszystkie siły duszy w zwinność, w blask, aby oddziaływać na istoty, o których czujemy dobrze, że są na zewnątrz nas i że ich nie dosięgniemy nigdy. Toteż jeżeli sobie wyobrażałem zawsze dokoła ukochanej kobiety miejsca, których wówczas najbardziej pragnąłem, jeżeli byłbym chciał, aby ona dała mi je poznać, aby ona otworzyła mi dostęp do nieznanego świata, to nie była igraszka prostego skojarzenia myśli; nie, to dlatego, że moje marzenia o podróży i o miłości były jedynie momentami tego samego i niezmiennego wytrysku mego życia; momentami, które rozdzielałem dziś sztucznie, tak jakbym robił cięcia na rozmaitych wysokościach mieniającej się tęczowo i na pozór nieruchomej fontanny.

W końcu, gdy idę dalej od wewnątrz ku zewnątrz za równoczesnymi i przylegającymi stanami mojej świadomości, nie dochodząc do rzeczywistego horyzontu, który je spowijał, znajduję przyjemności innego rodzaju: wygodnie siedzieć, czuć ożywczą woń powietrza, nie być zagrożonym przez jakąś wizytę; i, kiedy godzina biła na wieży św. Hilarego, widzieć, jak odpada kawałek po kawałku już miniona część popołudnia, aż usłyszę ostatnie uderzenie, które mi pozwoli określić cyfrę. Następujące potem długie milczenie zdawało się otwierać na błękitnym niebie ową część, która mi pozostawała do czytania aż do smacznego obiadu przygotowanego przez Franciszkę i mającego mnie pokrzepić po trudach doznanych w książce w towarzystwie bohatera. I za każdą godziną zdawało mi się, że to ledwie przed paroma chwilami była poprzednia; najświeższa zapisywała się na niebie tuż obok drugiej i nie mogłem uwierzyć, aby sześćdziesiąt minut zmie-

Marzenie, Miłość, Natura,  
Kobieta

Książka, Czas



ściło się w tym małym błękitnym łuku, który zawierał się między ich dwiema złotymi wskazówkami. Czasami nawet ta przedwczesna godzina wybijała o dwa uderzenia więcej niż poprzednia; była więc jedna, której nie usłyszałem! Coś, co się stało, nie stało się dla mnie. Czar lektury, magiczny niby głęboki sen, oszukał moje urzeczony uszy i zatarł złoty dźwięk na lazurowej powierzchni milczenia. Piękne niedzielne popołudnia pod kasztanem w ogrodzie, starannie oczyszczone przeze mnie z mizernych wydarzeń osobistego istnienia, które zastąpiłem pełnym niezwykłych przygód i pragnień życiem na łonie krajobrazu zroszonego strumieniami, wywołujecie dla mnie, kiedy myślę o was, jeszcze owo życie i zawieranie je istotnie przez to, żeście je stopniowo okoliły i zamknęły — podczas gdy ja tonąłem w swojej lekturze i podczas gdy stygł upał dnia — w kolejnym, lekko zmieniającym się i przerosłym listowiem kryształe waszych milczących, dźwięcznych, pachnących i przejrzystych godzin.

Czasami wyrwała mnie z lektury w ciągu popołudnia córka ogrodnika, która biegła jak szalona, przewracając w biegu drzewko pomarańczowe, kalecząc sobie palce, wybijając sobie zęb i krzycząc: „Idą, idą!” — iżbyśmy oboje z Franciszką przybiegli i nie stracili nic z widowiska. Było to w dniu, w które, udając się na manewry garnizonowe, wojsko przechodziło przez Combray, kierując się zazwyczaj ulicą św. Hildegardy. Podczas gdy służba nasza, siedząc rzędem na krzesłach przed sztachetami, patrzyła na niedzielnych spacerowiczów i pokazywała się im wzajem, córka ogrodnika spostrzegła błysk hełmów przez szczelinę między dwoma odległymi domami w alei Dworcowej. Służba cofała spiesznie krzesła, bo kiedy kirasjerzy defilowali ulicą św. Hildegardy, wypełniali całą jej szerokość i galop koni ocierał się o domy, pokrywając chodniki niby strome brzegi stanowiące zbyt ciasne łóżysko dla wzburzonego strumienia.

— Biedne dzieci — mówiła Franciszka, ledwie doszedłszy do kraty i już we łzach — biedna młodziczna, którą skoszą jak trawę; od samego myślenia o tym już mi się coś dzieje — dodała kładąc ręce na sercu, w miejscu, gdzie ją *ścisło*.

— To piękne, nieprawdaż, pani Franciszko, widzieć młodych ludzi, którzy nie dbają o życie, — mówił ogrodnik, aby ją „podgrzać”.

Nie trudził się na próżno:

— Nie dbają o życie? Więc o co trzeba dbać, jeżeli nie o życie? Toć to jedyny prezent, którego Pan Bóg nigdy nie robi dwa razy! Och, Boże, to szczerą prawdą, że oni o życie nie dbają! Widziałam ich w siedemdziesiątym; nie boją się już śmierci na tych przebrzydłych wojnach; to istne wariaty niewarte już ani tego sznurka, żeby ich na nim powiesić; to już nie ludzie, ale lwi. (Dla Franciszki porównanie człowieka z lwem, którego liczbę mnogą wymawiała *lwi*, nie miało nic pochlebnego).

Ulica św. Hildegardy zakręcała się zbyt blisko, aby można było coś widzieć na odległość; tylko przez tę szczelinę między dwoma domami w alei Dworcowej widać było wciąż nowe kaski, biegnące i błyszczące w słońcu. Ogrodnik byłby chciał wiedzieć, czy ich jeszcze dużo ma przechodzić; i chciało mu się pić, bo słońce piekło. Zaczem nagle córka jego, wypuszczając się niby z obłożonej fortecy, czyniła wypad, docierała do rogu ulicy i naraziwszy się sto razy na śmierć, przynosiła wraz z faszkią wody lukrecjowej nowinę, że jest ich może tysiąc, jadących bez przerwy od strony Thiberzy i Méséglise. Franciszka i ogrodnik, pojednani, dyskutowali o sposobie, w jaki należy się zachować w razie wojny:

— Widzi pani Franciszka, rewolucja byłaby lepsza, bo kiedy się ją wypowiada, to idą tylko ci, którzy chcą.

— Tak, tak, to rozumiem, to uczciwiej.

Ogrodnik myślał, że z wypowiedzeniem wojny wstrzymuje się wszystkie pociągi.

— Aha, żeby ludzie nie uciekały — rzekła Franciszka.

A ogrodnik:

— Ho, ho! one są chytre.

Bo nie przypuszczał, aby wojna była czym innym niż psim figlem, który rząd próbuje spłatać narodowi i aby, o ile by był sposób, znalazła się bodaj jedna osoba, która by nie drapła<sup>9</sup>.

Ale Franciszka śpieszyła się do cioci Leonii, ja wracałem do książki, służba lokowała się z powrotem przed bramą patrząc, jak opada kurz i podniecenie wzniecone przez żołnierzy.

<sup>9</sup>drapła — dziś popr.: drapnęła; tu: celowo niepopr., „ludowa” forma języka mówionego. [przypis edytorski]

Odkąd nastał spokój, długo jeszcze wezbrana fala spacerowiczów czerniła ulice Combray. I przed każdym domem, nawet tam gdzie nie było tego zwyczaju, służba a nawet państwo, siedząc i patrząc, stroili próg wypustką kapryśną i ciemną niby pas alg i muszel, których haft i krepę zostawia na brzegu odpływ morza.

Z wyjątkiem tych dni mogłem zazwyczaj czytać spokojnie. Ale dystrakcja oraz komentarz, jakie przyniosła mi wizyta Swanna, kiedy byłem pogrążony w książce autora zupełnie dla mnie nowego — był to Bergotte — miały ten skutek, że odtąd na długo obraz kobiet, o których marzyłem odcinał się już nie na murze strojnym w kądziel fioletowych kwiatów, ale na całkiem innym tle, przed portalem gotyckiej katedry.

Nazwisko Bergotte usłyszałem pierwszy raz od jednego z kolegów, starszego ode mnie, którego bardzo podziwiałem, Blocha. Słyszając, jak się zachwycam *Nocą październikową*, parsknął śmiechem hałaśliwym niby dźwięk trąby i rzekł:

— Wystrzegaj się dość nikczemnego zamięłowania w imćpanu Musset. To facet wielce żaloszny, zgoła ponure bydlę. Muszę przyznać zresztą, że on, a nawet niejaki Racine, popełnili każdy po jednym wierszu dość melodyjnym i mającym tę zaletę — dla mnie najwyższą — że nie znaczy absolutnie nic. To mianowicie: „biała Oloossona i biała Kamira” i „smętna córka Minosa oraz Pasifae”. Zwrócił mi na nie uwagę artykuł odwodowy na rzecz tych dwóch ciemiegów, pióra mego ukochanego mistrza, papy Leconte, miłego bogom nieśmiertelnym. *A propos*, oto książka której nie mam czasu przeczytać w tej chwili, a którą poleca — zdaje się — ten kolosalny jegomość. On uważa, jak mi powiadano, autora, imćpana Bergotte, za gościa wielce subtelnego: mimo zaś że papa Leconte zdradza czasami dosyć niezrozumiałą pobłażliwość, słowo jego jest dla mnie wyrocznią delficką. Przeczytaj tedy tę lirykoidalną prozę, a jeżeli gigantyczny gromadziciel rytmów który napisał *Bagahawata* i *Magnusowego Charta* głosi prawdę, będziesz, na Apollina, kosztował, drogi mistrzu, rozkoszy godnych olimpijskiego nektaru.

W owym sarkastycznym tonie prosił mnie, abym go nazywał *drogim mistrzem* i sam mnie tak nazywał. Ale w rzeczywistości znajdowaliśmy pewną przyjemność w tej zabawie, będąc jeszcze bliscy wieku, w którym człowiek mniema, że stwarza to, czemu daje nazwę.

Na nieszczęście, nie było mi dane dłużej rozmawiać z Blochem i prosić go o wyjaśnienie, a tym samym ukoić zamęt, w jaki mnie wtrącił, mówiąc że piękne wiersze (mnie, który żądałem od nich nie mniej niż objawienia prawdy!) są tym piękniejsze, im bardziej nic nie znaczą. Bo już więcej Blocha nie zaproszono do nas. Zrazu przyjmowano go przychylnie. Dziadek co prawda twierdził, że za każdym razem, kiedy się bliżej zaprzyjaźnię z jakim kolegą i sprowadzę go do domu, to zawsze jest Żyd, co by dziadka nie raziło w zasadzie — nawet jego przyjaciel Swann był z pochodzenia Żydem — gdyby nie uważał, że zazwyczaj nie wybieram ich spośród najlepszych. Toteż kiedy przyprowadzałem nowego przyjaciela, rzadko zdarzało się, aby dziadek nie zanucił: „*O Ojczyźnie, ziemi*” z *Żydówki* albo *Izraelu, łańcuchy krusz*, podśpiewując oczywiście tylko melodie (Tra ta tam ta tam tatam), ale i tak bałem się, aby kolega nie znał melodii i nie podłożył pod nią słów.

Zanim którego ujrział, już słyszając samo nazwisko (które często nie miało nic szczególnie izraelskiego), dziadek zgadywał nie tylko pochodzenie tych moich przyjaciół, którzy byli w istocie z Żydów, ale nawet to, co było czasami podejrzanego w ich rodzinie.

— Jak się nazywa ten mały, który ma przyjść dziś wieczór?

— Dumont, dziadziu.

— Dumont! Och, podejrzan.

I śpiewał:

Łucznicy, wierna moja straży.

Czuwajcie cicho i bez snu;

I, zadawszy zręcznie parę ściślejszych pytań, wołał: „Bacność! Bacność!” lub, jeżeli za pomocą chytrego śledztwa zmusił przybyłego gościa, aby ten bezwiednie zdradził swoje pochodzenie, wówczas dziadek, chcąc nam okazać, że nie ma już żadnej wątpliwości, zadowalał się tym, że, patrząc na nas, nucił nieznacznie:

Przecz trwożliwego syna Izraela

Wiedziesz tu kroki sam?

albo:

Pola ojczyste, Hebronu słodkie niwy,

lub wreszcie:

Jam wybranego rodu syn.

Te drobne manie dziadka nie wiązały się z żadnym wrogim uczuciem do moich kolegów. Ale Bloch zraził sobie rodziców z innego powodu. Na początek podrażnił mego ojca, który widząc raz, że Bloch przyszedł zmoczony, rzekł z zainteresowaniem:

— Co to, panie Bloch, co się dzieje na dworze, czyżby deszcz padał? Nic nie rozumiem, barometr stał wybornie.

Ale wydobył z niego tylko tę odpowiedź:

— Łaskawy panie, nie umiem panu absolutnie powiedzieć, czy deszcz padał. Żyję tak zdecydowanie poza fizykalnymi warunkami istnienia, że zmysły moje nie trudzą się ich notowaniem.

— Ależ, mój chłopcze, ten twój przyjaciel to jakiś idiota — rzekł ojciec po odejściu Blocha. — Jak to! Nie umie mi nawet powiedzieć, jaka jest pogoda. Ależ nie ma nic bardziej zajmującego! To głupiec.

Następnie Bloch nie spodobał się babce, bo po śniadaniu, kiedy powiedziała, że jest trochę cierpiąca, zdławił szloch i otarł łzy.

— Jakże ty chcesz, aby to było szczere — rzekła do mnie — skoro on mnie nie zna; chyba że jest wariat.

W końcu naraził się wszystkim, ponieważ, przyszedłszy na śniadanie z półtoragodzinnym opóźnieniem i okryty błotem, zamiast przeprosić powiedział:

— Nie daję nigdy wpływać na siebie perturbacjom atmosferycznym ani umownym specyfikacjom czasu. Zrehabilitowałbym chętnie używanie nargilów i malajskiego krissu, ale nie znam użytku instrumentów o wiele zgubniejszych i zresztą płasko-mieszcząskich, jak zegarek i parasol.

Byłby mimo to nadal bywał w Combray. Nie był to oczywiście przyjaciel, którego by rodzice dla mnie pragnęli: uwierzyli w końcu, że łzy, które mu wycisnęła niedyspozycja babki, nie były udane; ale wiedzieli instynktownie czy też z doświadczenia, że wybuchy wrażliwości mało mają wpływu na ciągłość naszych postępów i życia i że poszanowanie zobowiązań moralnych, wierność w przyjaźni, spełnienie dzieła, przestrzeganie trybu życia, czerpią o wiele pewniejszą rękojmię w sile ślepego przyzwyczajenia niż w tych doraźnych wybuchach, żarliwych a jałowych. Byliby woleli dla mnie towarzysza, który by mi dawał nie więcej niż zwykle reguły mieszczańskiego kodeksu nakazywały dawać przyjacielowi; który by nie posyłał mi niespodzianie koszyka owoców dlatego, że tego dnia pomyślał o mnie z czułością, ale który, niezdolny pod wpływem wyobraźni i kaprysu przechylić na moją korzyść sprawiedliwej wagi obowiązków i przyjaźni, nie skrzywiłby jej tak samo na moją niekorzyść. U takich osób nawet błędy nasze niełatwo wpływają na ich stosunek do nas: cioteczna babka była tego żywym przykładem; poróżniona od lat z siostrzenicą, z którą nigdy nie rozmawiała, nie zmieniła mimo to testamentu, w którym zostawiała jej cały majątek, dlatego że to była jej najbliższa krewna i że „tak się należało”.

Ale ja lubiłem Blocha, rodzice chcieli mi zrobić przyjemność, nierozwiązalne zagadnienia jakie sobie stawiałem z powodu odartej z sensu piękności „córy Minosa oraz Paspisphae” nużyły mnie bardziej i czyniły mnie bardziej nerwowym, niżby to uczyniły nowe z nim rozmowy, mimo że matka uważała je za zgubne. I byłby nadal bywał w Combray, gdyby po tym obiedzie, pouczywszy mnie — a nauka ta miała później taki wpływ na moje życie, czyniąc je zrazu szczęśliwszym, a potem nieszczęśliwszym! — że wszystkie kobiety myślą tylko o miłości i że nie ma ani jednej, której oporu nie można by zwyciężyć, nie upewnił mnie, iż słyszał, w sposób niepozostawiający żadnych wątpliwości, że moja cioteczna babka miała burzliwą młodość i że była jawnie na utrzymaniu. Nie mogłem się wstrzymać od powtórzenia tego rodzicom; wyproszone Blocha za drzwi, kiedy znów przyszedł, a kiedy go spotkałem później na ulicy, był dla mnie nadzwyczaj chłodny.

Ale co się tyczy Bergotte'a, miał rację.

Przyjaźń, Obowiązek,  
Obyczaje, Mieszczanin

W pierwszych dniach niby melodia, za którą będzie się szalało, ale której nie chwytając się jeszcze, nie dojrzałem tego, co miałem tak pokochać w jego stylu. Nie mogłem się oderwać od jego powieści, ale myślałem, że mnie interesuje tylko treść, tak jak w pierwszej fazie miłości, kiedy, spiesząc co dzień spotkać kobietę na jakimś zebraniu, na jakiejś zabawie, myślimy, że to urok tej zabawy nas ciągnie. Potem zauważyłem rzadkie, niemal archaiczne wyrażenia, których Bergotte lubił używać w pewnych chwilach, gdy jakiś tajemny strumień harmonii, jakaś wewnętrzna melodia wzdymały jego styl; zwłaszcza w momentach, w których zaczyna mówić o „zwodnym śnie życia”, o „niewyczerpanym strumieniu pięknych złud”, o „jałowej i rozkosznej udręce rozumienia i kochania”, o „wzruszających postaciach, które na wieki uszlachetniają czcigodne i urocze fasady katedr”, wyrażał całą nową dla mnie filozofię cudownymi obrazami, o których można by rzec, że budziły jakby śpiew harf i dawały jego akompaniamentowi coś boskiego.

Jeden z tych ustępów Bergotte’a — trzeci czy czwarty z kolei, który wyodrębniałem z całości — sprawił mi radość niedającą się porównać z tą, jaką znalazłem w pierwszym; radość, którą odczułem w głębszej warstwie swego jestestwa, jednolitszą, szerszą, wyzwołaną z wszelkich przeszkód i zapór. Bo, odnajdując wówczas to samo upodobanie w rzadkich wyrażeniach, ten sam strumień melodii, tę samą idealistyczną filozofię, które były już w innych ustępach, mimo że sobie nie zdawałem wówczas sprawy ze źródła swojej przyjemności, nie miałem już wrażenia, abym był pod czarem jakiegoś ustępu książki Bergotte’a kreślącego na powierzchni mojej myśli figurę czysto linearną; raczej czułem się w obliczu „idealnego motywu” Bergotte’a wspólnego jego książkom; a wszystkie analogiczne ustępy, spływając się z tym motywem, dawały mu jakby objętość i masę, od których umysł mój zdawał się rosnąć.

Nie byłem zapewne jedynym wielbicielem Bergotte’a; był on ulubionym autorem przyjaciółki mojej matki, osoby bardzo wykształconej; aby pochłaniać ostatnią jego książkę, doktor du Boulbon kazał na siebie czekać swoim chorym; z jego to gabinetu lekarskiego i z parku sąsiadującego z Combray polecały niektóre pierwsze nasiona owego kultu Bergotte’a, gatunku tak rzadkiego wówczas, dziś tak rozpowszechnionego; kultu, którego idealny i pospolity kwiat znajdzie się dziś wszędzie w Europie, Ameryce, aż do najmniejszej miłośnicy. Przyjaciółka matki i, zdaje się, doktor du Boulbon najbardziej lubili w książkach Bergotte’a to samo co ja; tę samą melodyjną falę, te wyrażenia staroświeckie, inne znowuż bardzo proste i znane, ale przez miejsce, w którym się znalazły świadczące o swoistym smaku autora; wreszcie w ustępach nacechowanych smutkiem pewną szorstkość, ton niemal gardłowy. I z pewnością sam Bergotte musiał czuć, że to są jego największe uroki. Bo w dalszych książkach, skoro napotkał jaką wielką prawdę, albo nazwę jakiejś sławnej katedry, przerywał opowiadanie i w inwokacji, w apostrofie, w długiej modlitwie, dawał swobodny bieg tym wylewom, które w pierwszych utworach wsiąkały w jego prozę, zdradzając się wówczas jedynie falowaniem powierzchni, subtelniejsze może jeszcze, harmonijniejsze, kiedy były tak utajone i kiedy nie dałoby się dokładnie wskazać, gdzie się rodzi, gdzie zamiera ich szept.

Te ustępy, najmiłsze sercu ich autora, kochaliśmy najbardziej. Co do mnie, umiałem je na pamięć. Czułem żal, kiedy Bergotte podejmował tok opowiadania. Za każdym razem, kiedy mówił o czymś, czego piękność była mi dotąd ukryta, o lasach sosnowych, o gradzie, o *Notre-Dame de Paris*, o *Atalii* lub o *Fedrze*, sprawiał, iż piękność ta eksplodowała niejako aż do mnie. Toteż czując, ile jest rzeczy w świecie, których moja wątpliwa wrażliwość nie byłaby odgadła, o ile on by ich do mnie nie zbliżył, byłbym chciał posiadać jego sąd, jego metaforę o wszystkich rzeczach, bodaj o tych, które miałbym sposobność widzieć sam; wśród tych zwłaszcza o dawnych budowlach francuskich i o pewnych morskich pejzażach, ponieważ upodobanie, z jakim wprowadzał je w swoje książki, dowodziło, że w nich widzi skarby znaczeń i piękności. Na nieszczęście prawie we wszystkich rzeczach byłem nieświadom jego poglądu. Nie wątpiłem, że musi być zupełnie różny od moich, skoro zstępował ze świata nieznanego, do którego ja siłęm się wznieść; przekonany że moje myśli wydałyby się szczerym głupstwem temu wybornemu duchowi, tak dalece wymiotłem je wszystkie, że kiedy przypadkiem zdarzyło mi się spotkać w którejś z jego książek coś, co pomyślałem sam z siebie, serce wzbierało mi tak, jakby Bóg w swojej dobroci wrócił mi tę myśl, uznawszy ją za prawdą i piękną.

Literat, Artysta, Słowo

Zdarzało się czasem, że jakaś jego stronica mówiła te same rzeczy, które ja pisałem często w nocy do babki i do matki, kiedy nie mogłem spać, tak że ta stronica Bergotte'a wyglądała jak same motto mogące służyć za nagłówek moim listom. Nawet później, kiedy zacząłem układać książkę, odnalazłem u niego ekwiwalent pewnych zdań, których wartość nie wystarczyła, aby mnie skłonić do pisania dalej. Ale jedynie wówczas, kiedy je czytałem w jego dziele, mogłem się nimi cieszyć; kiedy ja sam je tworzyłem, pochłonięty tym, aby odbijały ściśle to, com czytał w swojej myśli, obawiając się, że nie będzie „trafione”, jakżeby miał czas pytać siebie, czy to, co piszę, jest ładne! Ale w rzeczywistości jedynie ten rodzaj zdań, ten rodzaj myśli lubiłem naprawdę. Moje niespokojne i niecierpliwe wysiłki były same przez się znakiem miłości, miłości bez rozkoszy, ale głębokiej. Toteż kiedy nagle znajdowałem takie zdania w dziele cudzym, to znaczy będąc wolny od skrupułów, od samokrytyki, nie potrzebując się dręczyć, wówczas poddawałem się z radością upodobaniu do nich, niby kucharz, który zwolniony raz chwilowo od gotowania znajduje wreszcie czas, aby być smakoszem. Jednego dnia napotkałem w książce Bergotte'a na temat starej służącej żart, któremu wspaniały i uroczysty styl pisarza przydawał jeszcze ironii, ale identyczny z tym, który często robiłem mówiąc z babką o Franciszce; innym razem ujrzałem, że on nie uważa za niegodne pomieścić w jednym z owych zwierciadeł prawdy, jakimi były jego dzieła, spostrzeżenia pokrewnego z moimi rewelacjami o naszym przyjacielu Legrandin (uwagi o Franciszce i panu Legrandin były z pewnością z rzędu tych, które byłbym najłatwiej poświęcił, przekonany iż Bergotte pogardziłby nimi) — i wydało mi się nagle, że moje mizerne życie a królestwo prawdy nie są równie obce sobie, jak byłbym przypuszczał, że schodzą się nawet w niektórych punktach, i z zaufania i radości płakałem nad stronicami pisarza niby w ramionach odnalezionego ojca.

Wyobrażałem sobie Bergotte'a z jego książek jako słabego, zwątpiałego starca, który stracił dzieci i nigdy się po nich nie pocieszył. Toteż czytałem, śpiewałem w duszy jego prozę, bardziej *dolce*<sup>10</sup>, bardziej *lento*<sup>11</sup> może niż była pisana; najprostsze zdanie przemawiało do mnie akcentem tklivości. Ponad wszystko kochałem jego filozofię, oddałem się jej na zawsze. Wzbudziła we mnie żądzę dojścia do wieku, w którym wstąpię do kolegium, do klasy zwanej Filozofią. Ale pragnąłem, aby tam nie robiono nic innego poza wyłącznym życiem myślą Bergotte'a; i gdyby mi powiedziano, że filozofowie, do których się zapalę wówczas, nie będą w niczym doń podobni, byłbym uczuł rozpacz kochanka, który chce kochać na całe życie, a któremu się mówi o innych kobietach, kochankach jego przyszłości.

Jednej niedzieli w czasie lektury w ogrodzie zaskoczył mnie Swann, który przyszedł do rodziców.

— Co tam czytamy, można zobaczyć? O, Bergotte? Kto panu wskazał jego książki?

Powiedziałem, że Bloch.

— A tak, ten chłopiec, którego tu raz widziałem, taki podobny do Mahometa II na portrecie Belliniego. Och! uderzające, te same wężykowate brwi, ten sam zakrzywiony nos, te same wystające policzki. Kiedy zapuści bródkę, to będzie ta sama osoba. W każdym razie ma gust, Bergotte to urocza umysłowość.

I widząc, jak bardzo muszę podziwiać Bergotte'a, Swann, który nigdy nie mówił o swoich znajomych, uczynił przez dobroć wyjątek i rzekł:

— Znam go dobrze; gdyby to panu zrobiło przyjemność, aby panu podpisał tę książkę, mógłbym go o to poprosić.

Nie śmiałem przyjąć, ale zadałem Swannowi parę pytań co do Bergotte'a.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, którego on aktora najwyżej ceni?

— Aktora, nie wiem. Ale wiem, że żadnego aktora nie równa z Berma, którą stawia ponad wszystko. Czy ją pan widział?

— Nie, rodzice nie pozwalają mi chodzić do teatru.

— To szkoda. Powinien by ich pan o to poprosić. Berma w *Fedrze*, w *Cydzie* to tylko aktorka — powie ktoś — ale pan wie, że ja nie bardzo wierzę w „hierarchie” w sztuce.

I zauważyłem, jak mnie to już często uderzało w rozmowach Swanna z siostrami bab-

Słowo, Prawda

<sup>10</sup>*dolce* (wł.) — określenie dynamiki w muzyce: słodko. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*lento* (wł.) — oznaczenie tempa w muzyce: powoli. [przypis edytorski]

ki, że kiedy mówi o rzeczach poważnych, kiedy używa wyrażenia zdającego się zawierać opinię w ważnym przedmiocie, ma zwyczaj oddzielać je specjalną intonacją machinalną i ironiczną, jak gdyby je ujmował w cudzysłów, jak gdyby nie chciał go brać na swój rachunek: *hierarchia*, wie pan, jak mówią głupcy? Ale w takim razie, skoro to było głupie, po co mówił hierarchia?

W chwilę potem dodał:

— To panu da wizję równie szlachetną jak nie wiem jakie arcydzieło, sam nie wiem co... jak — i zaczął się śmiać — królowe z Chartres!

Aż dotąd ten wstręt do wyrażenia serio własnego poglądu wydawał mi się czymś, co musi być eleganckie i paryskie, czymś, co się przeciwstawia prowincjonalnemu dogmatyzmowi siostr babki; podejrzewałem też, że to jest duch koterii, w której obracał się Swann, i gdzie przez reakcję do liryzmu poprzednich pokoleń przesadnie rehabilituje się drobne ściste fakty, niegdyś uznane za pospolite, a potępia się „frazesy”. Ale teraz było dla mnie coś rażącego w tej postawie Swanna. Wyglądało to, jakby nie śmiał mieć zdania i jakby był spokojny jedynie wówczas, kiedy może dawać drobiazgowo ściste wskazówki. Nie zdawał sobie tedy sprawy, że i to znaczy wyrażać opinię, formułować, że dokładność tych szczegółów ma swoje znaczenie. Przypomniałem sobie wówczas ten obiad, kiedy byłem tak smutny, bo mama nie miała zająć do mego pokoju i kiedy Swann powiedział, że bale u księżnej de Léon nie mają żadnego znaczenia. Ale przecież na tego rodzaju przyjemnościach trawił życie! Wydawało mi się to pełne sprzeczności. Na jaki inny żywot zachowywał on powiedzenie w końcu serio, co myśli o rzeczach, sformułowanie sądów, których mógłby nie ujmować w cudzysłowy, i nie oddawanie się już z drobiazgową grzecznością zajęciom, o których mówił równocześnie, że są śmieszne? Zauważyłem także w sposobie, w jaki Swann mówił do mnie o pan Bergotte, coś, co nie było mu wyłącznie właściwe, ale przeciwnie było w owym czasie wspólne wszystkim wielbicielom pisarza, przyjaciółce mojej matki, doktorowi Boulbon. Jak Swann, mówili o tym pisarzu; „To czarujący umysł, taki oryginalny, ma swój odrębny sposób mówienia o rzeczach, trochę wyszukany, ale tak pełen wdzięku! Nie trzeba podpisu, poznaje się od razu, że to on”. Ale żaden nie byłby się posunął do powiedzenia: „To wielki pisarz, ma ogromny talent”. Nie mówili nawet, że ma talent. Nie mówili, bo nie wiedzieli. To bardzo długo trwa, zanim w swoistej fizjonomii nowego pisarza rozpoznamy model, który nosi miano „wielkiego talentu” w naszym muzeum ogólnych pojęć. Właśnie dlatego, że ta fizjonomia jest nowa, nie wydaje się nam całkowicie podobna do tego, co nazywamy talentem. Powiadamy raczej: oryginalność, urok, subtelność, siła i potem pewnego dnia zdajemy sobie sprawę, że właśnie to wszystko to jest talent.

— Czy istnieją książki Bergotte’a, w których by mówił o Bermie? — spytałem.

— Sądzę, że w małej plakietce o Rasynie, ale to musi być wyczerpane. Może ją jednak przedrukowano. Dowiem się. Mogę zresztą poprosić Bergotte’a o co pan chce, nie mija tydzień, aby nie był u nas na obiedzie. To wielki przyjaciel mojej córki. Zwiedzają razem stare miasta, katedry, zamki.

Ponieważ nie miałem żadnego pojęcia o hierarchii społecznej, niepodobieństwo, jakie ojciec widział w tym, abyśmy utrzymywali stosunki z panią i z panną Swann, od dawna miało raczej ten skutek, że, budząc we mnie wrażenie wielkiej między nami odległości, dało im urok w moich oczach. Żałowałem, że matka nie maluje sobie włosów i nie różuje ust, tak jak słyszałem przez naszą sąsiadkę, panią Sazerat, że robi pani Swann, i to aby się podobać nie mężowi, ale panu de Charlus. Myślałem, że musimy być dla niej przedmiotem wzgardy, co mi było przykre zwłaszcza z powodu panny Swann, o której mówiono mi, że jest bardzo ładna i o której marzyłem często, używając jej za każdym razem tej samej kapryśnej i uroczej twarzy. Ale kiedy się dowiedziałem tego dnia, że panna Swann jest istotą wielce niepospolitą, istotą kąpiącą się, niby w swoim przyrodzonym żywiole, w tyłu przywilejach; że, kiedy spyta się rodziców, czy jest ktoś na obiedzie, odpowiadają jej owymi pełnymi światła sylabami, nazwiskiem owego złotego gościa, który jest dla niej jedynie starym przyjacielem domu: *Bergotte*; że dla niej zwykłą rozmową przy stole, odpowiadającą temu, czym jest dla mnie rozmowa ciotki, są zdania Bergotte’a o wszystkich przedmiotach, których nie mógł poruszyć w książkach i w których tak byłbym pragnął słyszeć jego wyroki; że wreszcie kiedy zwiedza jakieś miasto, on wędruje obok niej, nieznanymi i wspaniałymi niby bogowie, którzy zstępowali między śmiertelnymi; wówczas zrozu-

Słowo, Prawda

Literat

Miłość, Pozycja społeczna,  
Tajemnica

miałem, równocześnie z ceną istoty takiej, jak panna Swann, jak bardzo musiałbym się jej wydać gminny i ciemny. Odczułem tak żywo słodycz i niemożliwość, jaką byłoby dla mnie zostać jej przyjacielem, że przepeliło mnie to równocześnie pragnieniem i rozpaczą. Najczęściej teraz, kiedy o niej myślałem, widziałem ją przed portalem jakiejś katedry, tłumaczącą mi znaczenie posągów; po czym z uśmiechem, jakże dla mnie pochlebnym, przedstawiała mi swemu przyjacielowi, panu Bergotte. I zawsze urok wszystkich pojęć, jakie rodziły we mnie katedry, urok wzgórz Ile-de-France i równin Normandii, kładł swoje odbłaski na obrazie, jaki sobie tworzyłem o pannie Swann: jakaż droga do pokochania! Kiedy sądzimy, że jakaś istota ma udział w nieznanym życiu, w które by nas jej miłość wprowadziła, jest to ze wszystkiego, czego wymaga krystalizacja miłości, rzecz najistotniejsza i pozwalająca zamknąć oczy na wszystko. Nawet kobiety, które sądzą, że oceniają mężczyznę tylko z warunków fizycznych, widzą w tej stronie fizycznej emanację swego życia. Dlatego kochają żołnierzy, strażaków; mundur czyni je mniej wybrednymi co do twarzy; myślą, że całują pod pancerzem odmienne serce, zuchwałe i łagodne; i młody monarcha lub następca tronu odnosi najpochlebniejsze zwycięstwa w obcych krajach, które zwiedza, nie potrzebując do tego regularnego profilu, który byłby może nieodzowny dla lada filistra.

Czytałem tedy w ogrodzie. Zajęcia tego ciotka nie uznawała poza niedzielą, dniem, w którym wzbronione jest zajmować się czymś poważnym i w którym ona nie szyła. W dzień powszedni byłaby mi powiedziała: „jak to, ty znów *zabawiasz* się czytaniem, przecież to nie jest niedziela” — dając temu słowu *zabawiać się* znaczenie dzieciństwa i straty czasu. Ciocka Leonia gwarzyła z Franciszką, oczekując przyjscia Eulalii. Oznajmiła Franciszce, że widziała przechodzącą panią Goupil „bez parasola, w jedwabnej sukni robionej w Châteaudun. Jeżeli ma gdzieś daleko iść przed nieszporami, łatwo może ją skropić”.

— Może, może (co znaczyło: *może nie*) — powiadała Franciszka, aby zbyt stanowczo nie odtrącać możliwości pomyslniejszego obrotu.

— Prawda — mówiła ciotka uderzając się w czoło — to mi przypomina, że nie dowiedziałem się, czy ona przysłała do kościoła już po podniesieniu. Muszę pamiętać, aby spytać o to Eulalii... Franciszko, popatrz no na tę czarną chmurę za wieżą i na to złe słońce na dachu: pewna jestem, że dzień nie minie bez deszczu. Nie było możliwe, aby to tak wytrzymało, było za gorąco. I im prędzej tym lepiej, bo dopóki burza nie przyjdzie, moje Vichy nie spłynie — dodała ciocka Leonia, w której umyśle chęć przyspieszenia wędrówki wody Vichy nieskończenie przeważała obawę, aby pani Goupil nie zniszczyła sobie sukni.

— Może, może.

— I jeszcze to, że kiedy pada na rynku, nie bardzo jest gdzie się schować. Jak to, trzecia? — wykrzyknęła nagle ciocka Leonia, blednąc — ależ w takim razie nieszpory już się zaczęły, zapomniałam swojej pepsyny. Rozumiem teraz, czemu woda Vichy leży mi w żołądku.

I, rzucając się na książkę do nabożeństwa w fioletowym aksamicie, ze złotymi brzegami i wyrzucając z niej w pośpiechu obrazki okolone poźółtką papierową koronką, znaki dni świątecznych, ciocka, lykając swoje krople, zaczęła co prędzej czytać święte teksty, których zrozumienie było lekko przyćmione niepewnością, czy pepsyna wzięta w tak długi czas po wodzie Vichy, będzie jeszcze zdolna dogonić ją i przeprowadzić. „Trzy godziny, to niepojęte, jak ten czas leci”.

Małe uderzenie w szybę, jak gdyby coś ją trąciło, tuż potem obfity opad, lekki niby ziarenka piasku, które by zrzucano z piętra wyżej; potem opad obfitszy, regularniejszy, wchodzący w pewien rytm, płynny, dźwięczny, muzyczny, niezliczony, powszechny: to był deszcz.

— I co, Franciszko, co mówiłam? Ależ pada! Ale zdaje mi się, że słyszałam dzwonek u furtki w ogrodzie; idź zobaczyć, kto może być na dworze w taki czas.

Franciszka wracała.

— To pani Amedeuszowa (moja babka) powiedziała, że się trochę przeleci. A przecie leje tego.

— To mnie nie dziwi — rzekła ciocka wznosząc oczy do nieba. — Zawsze mówiłam, że ona nie ma w głowie tak jak wszyscy. Wolę już, że ona jest w ogrodzie, niż żebym sama miała tam być w tej chwili.

Pobożność

Sługa, Słowo, Obyczaje

— Pani Amedeuszowa to zawsze wprost przeciwnie jak wszyscy — mówiła Franciszka łagodnie, zachowując na chwilę, w której znajdzie się sama z resztą służby stwierdzenie, że jej zdaniem babka jest trochę pomyłona.

— Już po błogosławieństwie! Eulalia nie przyjdzie już — wzdychała ciotka — musiała się złąknąć deszczu.

— Ale nie ma piątej, proszę pani, jest dopiero wpół.

— Dopiero wpół? a ja musiałam podnieść firaneczki, żeby mieć bodaj odrobinę światła. O wpół do piątej! Na tydzień przed dniami krzyżowymi! Och, moja dobra Franciszko, musi widać Bóg bardzo być na nas pogniewany. Bo też dzisiejszy świat za wiele sobie pozwala. Jak powiedział mój biedny Oktaw, zanadto zapomniano o Panu Bogu i on się mści.

Żywy rumieniec zabarwił lica ciotki: zadzwoniła Eulalia. Na nieszczęście, ledwo weszła, Franciszka wróciła, i z uśmiechem, mającym dostroić ją samą do radości, o której nie wątpiła, iż jej słowa sprawią ciotce, delikatnie dzieląc sylaby, aby okazać że, mimo użycia stylu pośredniego, przynosi, jako dobra służka, autentyczne słowa, którymi raczył się wyrazić gość, rzekła:

— Ksiądz proboszcz byłby zachwycony, szczęśliwy, gdyby pani Oktawowa nie odpoczywała i mogła go przyjąć. Ksiądz proboszcz nie chce przeszkadzać. Ksiądz proboszcz jest na dole, wprowadziłam go do sali.

W rzeczywistości wizyty proboszcza nie sprawiały ciotce równie wielkiej przyjemności, jak to przypuszczała Franciszka, a rozpromieniony wyraz, którym służąca uważała za właściwe stroić swoją twarz za każdym razem, kiedy miała oznajmić tę duchowną osobę, niezupełnie odpowiadał uczuciom chorej. Proboszcz (wyborny człowiek; żałuję, że z nim nie rozmawiałem częściej, bo, o ile nie rozumiał się na sztuce, o tyle biegły był w etymologii), przyzwyczajony dawać znamienitszym turystom informacje o kościele (nosił się z zamiarem napisania książki o parafii Combray), męczył ciotkę objaśnieniami bez końca, w dodatku zawsze tymi samymi. A już kiedy się zjawiał tak równocześnie z Eulalią, wizyta jego stawała się ciotce wręcz niepożądana. Byłaby wolała lepiej wyzyskać Eulalię i nie mieć wszystkich naraz. Ale nie śmiała odprawić proboszcza, dawała tylko Eulalii znak, żeby nie odchodziła razem z nim, że ją chce mieć trochę samą, kiedy ksiądz pójdzie.

— Księżę proboszczu, co to mi mówiono, że jakiś artysta ustawił sztalugi w kościele, aby skopiować witraż? Mogę rzec, że dożyłam swoich lat, nie słysząc o czymś podobnym! Czego dziś ludzie nie wymyślą! I właśnie to jest najbrzydsza rzecz w całym kościele!

— Nie posunąłbym się tak daleko, aby powiedzieć, że to jest rzecz najbrzydsza; bo o ile są u św. Hilarego partie, które warte są zwiedzenia, są inne bardzo stare w tej mojej biednej bazylice, jedynej w całej diecezji, której nawet nie odrestaurowano! Mój Boże, kruchta jest stara i brudna, ale bądź co bądź, ma swój majestat; ujdą nawet gobeliny z Esterą, za które osobiście nie dałbym dwóch groszy, ale które znawcy stawiają zaraz po gobelinach w Sens. Uznaję zresztą, że, obok pewnych nazbyt realistycznych szczegółów, tkaniny te świadczą skądinąd o prawdziwym zmyśle obserwacji. Ale niech mi nikt nie mówi o witrażach! Czy w tym jest sens, aby zachowywać okna, które nie dają światła i nawet mają wzrok refleksami nieokreślonego koloru? I to w kościele, gdzie nie ma dwóch płyt na jednym poziomie; a nie chcą mi ich zmienić pod pozorem, że to są groby opatów Combray i panów na Guermantes, dawnych hrabiów Brabantu! W prostej linii przodkowie dzisiejszego księcia de Guermantes, a także księżnej, skoro ona jest z domu de Guermantes i wyszła za swego kuzyna...

(Babka, która, nie interesując się ludźmi, pomieszała w końcu wszystkie nazwiska, za każdym razem, kiedy wymieniano księżnę de Guermantes, utrzymywała, że to musi być kuzynka pani de Villeparisis. Wszyscy parskali śmiechem; babka starała się bronić, powołując się na jakiś „*faire part*”: „Zdawało mi się, że tam były jakieś Guermanty”. I na ten raz byłem z innymi przeciwko niej, nie mogąc przypuścić, aby istniał jakiś węzeł między jej przyjaciółką z pensji a wnuką Genowefy z Brabantu.)

— Weź pani Roussainville, to jest dzisiaj tylko chłopska parafia, mimo że w starożytności miejscowość ta słynęła handlem filcowych kapeluszy i zegarów. Nie jestem pewien etymologii Roussainville. Przypuszczałbym chętnie, że pierwotna nazwa była Rouville (*Radulfi villa*) jak Chateauroux (*Castrum Radulfi*), ale o tym opowie pani innym razem. No i kościół tamtejszy ma wspaniałe witraże, prawie wszystkie nowoczesne, i ten imponujący *Wjazd Ludwika Filipa do Combray*, który bardziej byłby na swoim miejscu



w samym Combray i który wart jest, jak powiadają, słynnego witrażu w Chartres. Wczoraj jeszcze widziałem brata doktora Percepied, który jest znawcą i który uważa, że to jest pięknie wykończone. Ale sam mówiłem temu artyście (zresztą bardzo grzeczny człowiek i podobno prawdziwy wirtuoz pędzla): „Co wy widzicie nadzwyczajnego w tym witrażu, który jest jeszcze trochę brudniejszy od innych?”

— Jestem pewna, że gdyby ksiądz poprosił eminencji — rzekła miękko ciocia Leonia, która zaczynała się obawiać, że się zmęczy — nie odmówiłby księdzu nowego witrażu.

— Tak pani myśli, pani Oktawowo! — odparł proboszcz. — Ależ to właśnie jego eminencja roztrąbił ten nieszczęśliwy witraż, dowodząc, że przedstawia Gilberta Złego, pana na Guermantes, wiodącego się wprost od Genowefy Brabanckiej (która była z domu Guermantes), jak dostaje rozgrzeszenie od świętego Hilarego.

— Ale ja nie widzę, gdzie jest święty Hilary.

— Ale owszem, w kącie witrażu nie zauważyła pani nigdy damy w żółtej sukni? No to właśnie jest święty Hilary, którego nazywają też, wie pani, w pewnych prowincjach Saint-Illiers, Saint-Héliér, a nawet w Jura Saint-Ylie<sup>12</sup>. Te różne skażenia słów *sanctus Hilarius* nie są zresztą najciekawsze spośród tych, które się spotyka w imionach błogosławionych. Tak na przykład twoja patronka, moja dobra Eulalio, *sancta Eulalia*, czy wiesz, co się z niej zrobiło w Burgundii? Po prostu Saint-Eloi<sup>13</sup>: zmieniła się w świętego. Czy wyobrażasz sobie, Eulalio, aby po twojej śmierci zrobiono z ciebie chłopca?

— Ksiądz proboszcz zawsze powie coś do śmiechu.

— Brat Gilberta, Karol Jąkała, pobożny książę, który niestety, straciwszy wcześniej ojca, Pepina Szalonego, zmarłego wskutek choroby umysłowej, wykonywał najwyższą władzę z całą butą młodości pozbawionej dobrodziejstw wychowania, z chwilą gdy fizys jakiegoś osobnika nie spodobała mu się w jakimś mieście, kazał tam mordować wszystkich do ostatniego mieszkańca. Gilbert, chcąc się zemścić na Karolu, kazał spalić kościół w Combray — pierwotny kościół ówczesny, ten, który Teodebert, opuszczając ze swoim dworem rezydencję, którą miał niedaleko stąd w Thiberzy (*Theodeberciacus*), aby iść na Burgundów, przyrzekł zbudować na grobie Św. Hilarego, jeżeli święty postara mu się o zwycięstwo. Została tylko krypta, którą Teodor musiał pani pokazywać, wobec tego że Gilbert spalił resztę. Potem pobił nieszczęsnego Karola, przy pomocy Wilhelma zdobywcy (ksiądz wymawiał *Wilelma*), co sprawiło, że wielu Anglików przyjeżdża tu oglądać Combray. Ale nie zdaje się, aby sobie umiał zjednać sympatię mieszkańców Combray, bo rzucili się na niego, gdy po mszy wychodził z kościoła i ucieli mu głowę. Zresztą Teodor pożycza małej książeczki, która zawiera wyjaśnienia.

Ale co jest bezspornie najciekawsze w naszym kościele, to widok z wieży: wspaniały jest. Oczywiście, pani Oktawowej, która nie jest zbyt silna, nie radziłbym drapać się tych dziewięćdziesiąt siedem schodów, ściśle połowę słynnej katedry mediolańskiej. Jest się czym zmęczyć nawet dla osoby zdrowej, tym bardziej że się idzie zgięty we dwoje, o ile się nie chce rozbić głowy, i zgarnia się ubraniami wszystkie pajęczyny na schodach. W każdym razie, musiałaby pani dobrze głowę zawinąć — dodał (nie spostrzegając oburzenia, o jakie ciotkę przyprowadziła myśl, że byłaby zdolna wyjść na wieżę) — bo skoro się jest na górze, są tam straszliwe przeciągi! Niektóre osoby twierdzą, że uczuły tam chłód śmierci. Mimo to w niedzielę zdarzają się zawsze towarzystwa, które przybywają nawet z bardzo daleka, aby podziwiać piękność panoramy i które wracają zachwycone. Ot, w przyszłą niedzielę, jeżeli pogoda się utrzyma, spotka pani tam z pewnością ludzi, bo mamy krzyżowe dni. Trzeba zresztą przyznać, że ma się stamtąd widok czarodziejski, rzut oka na dolinę, coś zupełnie osobliwego. Kiedy czas jest piękny, można widzieć aż do Verneuil. Zwłaszcza ogląda się naraz rzeczy, które zazwyczaj można widzieć tylko oddzielnie, jak bieg Vivonne i rowy w Saint-Assise-lés-Combray, od których rzekę oddziela niby kurtyna wielkich drzew; lub wreszcie rozmaite kanały w Jouy-le-Vicomte (*Gaudiacus vice comitis*, jak pani wiadomo). Za każdym razem, kiedy się wybrał do Jouy-le-Vicomte, widziałem kawałek kanału; potem, kiedy skręciłem w ulicę, widziałem drugi, ale wówczas nie widziałem poprzedniego. Daremnie skupiałem je razem w myśli, to nie robiło wielkiego wrażenia.

<sup>12</sup>nazywają (...) w pewnych prowincjach Saint-Illiers, Saint-Héliér, a nawet w Jura Saint-Ylie — w późniejszych wyd. poprawiono tłumaczenie tego fragmentu: „nazywają (...) w pewnych prowincjach świętym Hilierem, świętym Helierem, a nawet w Jurze świętym Ilią”. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Saint-Eloi — Święty Eligiusz. [przypis edytorski]

Z wieży św. Hilarego to co innego: widać całą sieć obejmującą to miasteczko. Tylko nie rozpoznaje się wody; ot, powiedziałby kto, wielkie szczeliny przecinające miasto na części, niby ciasto, którego kawałki trzymają się z sobą, mimo że są już rozcięte. Na dobrą sprawę, trzeba by być razem na wieży św. Hilarego i w Jouy-le-Vicomte.

Proboszcz tak zmęczył ciotkę, że ledwo odszedł, musiała odprawić Eulalię.

— Masz, moja dobra Eulalio, — rzekła słabym głosem, wydobywając pieniądź z sakiewki, którą miała pod ręką — weź abyś nie zapomniała o mnie w swoich modłach.

— Och, pani Oktawowo, ja nie wiem, czy ja powinnam, wie pani dobrze, że ja nie dlatego przychodzę! — mówiła Eulalia za każdym razem z tym samym zakłopotaniem, co gdyby to był pierwszy raz; a także z pozornym niezadowoleniem, które bawiło ciocię Leonię, ale nie było jej przykre, bo jeżeli którego dnia Eulalia, biorąc pieniądź, miała minę nieco mniej zgorzowaną niż zwykle, ciocia mówiła:

— Nie wiem, co się stało Eulalii, dałam jej to samo co zawsze i nie wydawała się zadowolona.

— Myślę przecie, że nie powinna się skarżyć — wzdychała Franciszka, która była skłonna uważać za drobiazg wszystko, co ciocia Leonia dawała jej albo jej dzieciom, a za skarby szaleńczo roztrwonione dla niewdzięcznej uważała monetę wsuniętą każdej niedzieli w rękę Eulalii, ale tak dyskretnie, że nigdy Franciszka nie zdołała jej sprawdzić. To nie znaczy, aby Franciszka pragnęła dla siebie pieniędzy, które ciocia dawała Eulalii. Cieszyła się dostatecznie tym, co ciocia posiadała, wiedząc, że bogactwa pani równocześnie podnoszą i upiększają w oczach wszystkich jej służącą i że ona, Franciszka, jest osobą znaczną i szanowaną w Combray, Jouy-le-Vicomte i innych miejscach, szanowaną za liczne folwarki cioci Leonii, za częste i długie wizyty proboszcza, za niezwykle ilości spotrzebowanych flaszek Vichy. Była skąpa jedynie za ciocię; gdyby zawiadowała jej majątkiem, co byłoby jej marzeniem, uchroniłaby ją od cudzych zamachów z macierzyńską zachłannością. Nie widziała by zresztą nic bardzo złego w tym, gdyby ciocia, której nieuleczalną hojność znała, rozdawała majątek — byleby tylko ludziom bogatym. Może myślała, że ci, nie potrzebując podarków cioci Leonii, nie mogą być podejrzani o to, że ją kochają interesownie. Zresztą podarki czynione osobom bardzo zamożnym — jak pani Sazerat, pan Swann, pan Legrandin, pani Goupil — osobom „tej samej klasy” co ciocia Leonia i które „dobrze pasowały razem”, były dla niej częścią obyczajów owego dawnego i świetnego życia bogaczy, którzy polują, wyprawiają bale, składają sobie wizyty i których podziwiała z uśmiechem. Ale inna sprawa, jeżeli korzystający z hojności cioci byli z tych, których Franciszka nazywała „ludzie tacy jak ja, ludzie, którzy nie są nic lepszego niż ja” i którymi gardziła najbardziej, chyba że ją nazywali „panią Franciszką” i uważali się za „coś gorszego od niej”. I kiedy ujrzała, że mimo jej rad, ciocia rządzi się swoim zdaniem i że wyrzuca pieniądze — tak przynajmniej Franciszka sądziła — dla osób niegodnych, podarki, które ciocia robiła jej samej, zaczęła uważać za nikłe, w porównaniu z urojonymi sumami dawanymi Eulalii. Nie było w okolicach Combray tak znacznego folwarku, którego by, zdaniem Franciszki, Eulalia nie mogła sobie z łatwością kupić za wszystko, co jej przynoszą te wizyty. Prawda, że Eulalia w ten sam sposób szacowała niezmierzone i ukryte bogactwa Franciszki. Zazwyczaj, kiedy Eulalia już poszła, Franciszka opatrywała jej osobę mocno krytycznym komentarzem. Nienawidziła Eulalii, ale się jej bała i uważała za konieczne w oczy okazywać jej „przychylną twarz”. Odbijała to sobie po odejściu Eulalii, nie wymieniając jej co prawda, ale wygłaszając sybilińskie wyrocznie albo zdania o charakterze ogólnym jak u Eklezjasty, których znaczenie nie mogło mieć dla cioci tajemnic. Sprawdziwszy spoza firanki, czy Eulalia zamknęła drzwi: „Podchlebcy umieją wkraść się w łaski i zgarniać majątki; ale cierpliwości, pan Bóg wszystkich ich kiedyś pokarze” — powiadała z kosym spojrzeniem i z intencją Joasa myślącego wyłącznie o Atalii, kiedy powiada:

*Szczęście złych niby potok górski spłynie.*

Ale kiedy proboszcz był również i kiedy jego niekończąca się wizyta wyczerpała siły ciotki, Franciszka wychodziła z pokoju za Eulalią mówiąc:

— Niech teraz pani sobie odpocznie, bardzo mi coś panią zmęczyli.

Sluga, Pieniądź, Bogactwo,  
Zazdrość

I ciocia nawet nie odpowiadała, wydając westchnienie, które zdawało się ostatnim, z zamkniętymi oczami, jak umarła. Ale ledwo Franciszka zeszała, rozlegały się z największą gwałtownością cztery dzwonki i ciocia, siedząc na łóżku, wołała:

— Czy Eulalia już poszła? Wyobraź sobie, zapomniałam jej spytać, czy pani Goupil zdążyła na mszę przed podniesieniem! Biegnij prędko za nią.

Ale Franciszka wracała nie zdoławszy dogonić Eulalii.

— To fatalne — mówiła ciocia, potrząsając głową. — Jedyna ważna rzecz, o jaką miałam się jej spytać!

Tak sływało życie cioci Leonii, zawsze jednakie, w słodkiej jednostajności tego, co z udaną wzgardą i głęboką czułością nazywała swoim „biedowaniem”. Chronione przez wszystkich nie tylko w domu, gdzie każdy, przekonawszy się o daremności radzenia jej lepszej higieny, zgodził się pomalutku szanować ten tryb życia, ale i w miasteczku, gdzie o trzy ulice od nas chłopak, zanim się wziął do zabijania pak, kazał się pytać Franciszki, czy ciocia Leonia nie „odpoczywa” — *biedowanie* to zostało wszelako zmacone tego roku. Niby ukryty owoc, który dojrzał niespostrzeżony przez nikogo i spadł sam z drzewa, przyszło jednej nocy rozwiązanie dziewczyny kuchennej. Męczyła się straszliwie, że zaś nie było akuszerki w Combray, Franciszka musiała pojechać przededniem po akuszerkę do Thiberzy. Z powodu krzyków pomywaczki ciotka nie mogła *odpoczywać* i bardzo brakowało jej też Franciszki, która mimo niewielkiej odległości wróciła aż późno. Toteż matka rzekła rano do mnie:

— Idź, zajrzyj, czy ciocia nie potrzebuje czego.

Wszedłem do pierwszego pokoju i przez otwarte drzwi ujrzałem ciocię, która, leżąc na boku, spała; usłyszałem, jak lekko chrapie. Miałem po cichu odejść, ale widocznie hałas moich kroków wmieszał się w jej sen i „zmienił jego szybkość”, jak mówi się o samochodach, bo muzyka chrapania urwała się na chwilę i rozpoczęła się o ton niżej. Potem ciocia obudziła się i obróciła nieco twarz, którą mogłem ujrzeć wówczas. Twarz wyrażała jakby grozę; ciocia miała najwidoczniej okropny sen; nie mogła mnie widzieć w tej pozycji, a ja stałem, nie wiedząc, czy mam postąpić, czy oddalić się; ale już zdawało mi się, że wróciła do poczucia rzeczywistości i poznała kłamstwo widzeń, które ją przestraszyły; uśmiech radości, pobożnej wdzięczności Bogu, który pozwala, aby życie było mniej okrutne niż sny, oświecił słabo jej twarz. Przyzwyczajona mówić do siebie półgłosem, kiedy myślała, że jest sama, szepnęła:

— Bogu niech będzie chwała, to całego zmartwienia tylko tyle, że kuchta rodzi. A już mi się śniło, że mój biedny Oktaw zmartwychwstał i chciał, żebym co dzień chodziła na spacer!

Ręka jej sięgnęła do różańca leżącego na stoliczku, ale ogarniający ją sen nie zostawił jej siły na ujęcie go; zasnęła z powrotem uspokojona, a ja Wyszedłem na palcach, tak że ani ciocia, ani nikt inny nie dowiedzieli się, com usłyszał.

Kiedy mówię, że poza wypadkami bardzo rzadkimi jak ten poród, tryb życia cioci nie ulegał nigdy zmianie, nie mówię o tych zmianach, które, zawsze jednakie, powtarzając się w prawidłowych odstępach, wprowadzały w jednostajność jedynie rodzaj wtórnej jednostajności. Na przykład w każdą sobotę, kiedy Franciszka szła popołudniu na targ do Roussainville-le-Pin, śniadanie było dla wszystkich o godzinę wcześniej. I ciocia tak się przyzwyczaiła do tego cotygodniowego odstępstwa od swoich nawyków, że zrosła się z tym zwyczajem tyleż co z innymi. Tak dalece „włożyła się w to”, jak mówiła Franciszka, że gdyby jej trzeba było w sobotę czekać na śniadanie zwyczajnej godziny, byłoby ją to tak samo „wytrąciło”, co gdyby musiała innego dnia cofnąć śniadanie do godziny sobotniej. To przesunięcie śniadania dawało zresztą sobocie w oczach nas wszystkich fizjonomię niezwykłą, wakacyjną i dość sympatyczną. W porze, gdy zazwyczaj ma się jeszcze godzinę przed niespodzianką posiłku, w sobotę człowiek wiedział, że za kilka minut ujrzy, jak się zjawiają przedwczesne salsefie<sup>14</sup>, protekcyjny omlet, niezasłużony befsztyk. Powrót tej asymetrycznej soboty był jednym z owych drobnych wydarzeń wewnętrznych, lokalnych, prawie społecznych, które w spokojnym życiu i w zamkniętym kółku tworzą rodzaj narodowego węzła i stają się ulubionym przedmiotem rozmów, żartów, opowiadań

Jedzenie, Obrzędy

<sup>14</sup>*salsefia* — rodzaj warzywa (odmiana skorzonery), z którego spożywa się korzeń z wyglądu podobny do białej marchwi, smakiem przypominający szparagi. [przypis edytorski]

przesadzonych do woli; byłby gotowym jądrem dla legendarnego cyklu, gdyby ktoś z nas miał zmysł epiczny. Od rana, zanim się ubrali, bez przyczyny, dla rozkoszy odczuwania siły solidarności, jedni mówili do drugich wesoło, kordialnie, patriotycznie: „Nie ma czasu do stracenia, pamiętajmy, że to sobota!”

Ciocia, naradzając się z Franciszką i myśląc, że dzień będzie dłuższy niż zazwyczaj, powiadała: „Może byś im upiekła ładny kawałek cielęciny, skoro to sobota”.

Jeżeli o wpół do jedenastej ktoś roztargniony wydobyl zegarek mówiąc: „No, jeszcze mamy półtorej godziny do śniadania”, wszyscy byli uszczęśliwieni, że mogą mu powiedzieć: „Ale skądże, gdzie ty masz głowę, nie pamiętasz, że to sobota!”; i śmiano się jeszcze w kwadrans potem i przyrzekano sobie opowiedzieć tę dystrakcję cioci, aby ją zabawić.

Nawet oblicze nieba wydawało się zmienione. Po śniadaniu słońce, świadome, że to sobota, wałęsało się godzinę dłużej po sklepieniu nieba, i kiedy ktoś, myśląc, że przecoczono porę przechadzki, powiadał: „Jak to, dopiero druga?” widząc jak przechodzą dwa uderzenia dzwonnicy św. Hilarego (nawykłe nie spotykać jeszcze nikogo na drogach pustych z powodu południowego posiłku lub wypoczynku, wzdłuż żywej i białej rzeki, którą nawet rybak opuścił, i wędrujące samotnie poprzez niebo w stanie spoczynku, kędy zostało jedynie parę leniwych chmur), wszyscy chórem odpowiadali: „Ależ pomyliło ci się, śniadanie było o godzinę wcześniej, wiesz przecie, że to sobota!”

Zdziwienie barbarzyńcy (nazywaliśmy tak wszystkich ludzi nieznających tej odrębności soboty), który, przyszedłszy o jedenastej, aby się zobaczyć z ojcem, zastał nas przy stole, było jedną z rzeczy, które najbardziej w życiu rozweselały Franciszkę. Ale jeżeli wydawało jej się zabawne, iż zaskoczony gość nie wiedział, że my śniadamy wcześniej w sobotę, jeszcze komiczniejsze było dla niej (mimo iż sympatyzowała w głębi serca z tym ciasnym szowinizmem), kiedy ojciec, nie zastanawiając się, że ów barbarzyńca mógł tego nie rozumieć, odpowiadał bez innych wyjaśnień: „Przecie dziś sobota!” Doszedłszy do tego punktu opowiadania, ocierała łzy wesołości i, aby pomnożyć swoją przyjemność, przedłużała dialog, wymyślała rzekomą odpowiedź gościa, któremu ta „sobota” nic nie tłumaczyła. I nie tylko nie skarżyliśmy się na te dodatki, ale nie wystarczały nam one jeszcze i mówiliśmy: „Ale zdawało mi się, że on jeszcze coś powiedział. To było dłużej za pierwszym razem, kiedy Franciszka opowiadała”. Nawet stara ciotka odkładała robótkę, podnosiła głowę i spoglądała przez lorgnon<sup>15</sup>.

Sobota miała jeszcze to szczególne, że tego dnia w ciągu całego maja wychodziliśmy po obiedzie, aby iść na nabożeństwo majowe.

Ponieważ spotykaliśmy tam czasami pana Vinteuil, bardzo surowego dla „żałosnego gatunku młodych ludzi zaniedbanych, w duchu dzisiejszej epoki”, matka pilnowała, aby nie było żadnych braków w moim stroju, po czym szliśmy do kościoła. Przypominam sobie, że to przez nabożeństwa majowe zacząłem kochać głogi. Obecne nie tylko w kościele — świętym nad inne, ale do którego mieliśmy prawo wstępu — ustawione na samym ołtarzu, nieodłączne od misteriów, w których obchodzie brały udział, biegły pośród świeczników i poświęcanych naczyń gałęzmi splecionymi w świąteczne girlandy. Gałęziom tym przydawały jeszcze uroku festony liści, na których rozsiane były obficie, niby na trenie panny młodej, bukietki pączków olśniewającej białości. Ale zaledwie śmiałem na nie spoglądać: czułem, że te odświętne przybrania są żywe, i że to natura sama, wystrzygając tak bogato liście, przydając im najpiękniejszy ornament owych białych pączków, uczyniła tę dekorację godną obrzędu, który był zarazem i uciechą ludową, i mistyczną ceremonią. Wyżej otwierały się tu i ówdzie ze swobodnym wdziękiem ich płatki, przytrzymujące nie dbale, niby lekki stroik z gazy, bukiet pręcików delikatnych jak babie lato. I śledząc ten ruch, odtwarzając w sobie samym gest ich kwitnienia, wyobrażałem sobie, jak gdyby to był nieopatrny i szybki ruch głowy białej dziewczyny, roztargnionej i żywej, rzucającej zalotne spojrzenie spod zmrużonych powiek.

Pan Vinteuil usiadł z córką koło nas. Pochodzący z dobrej rodziny, dawał niegdyś lekcje fortepianu siostrze babki; i kiedy po śmierci żony i po jakimś spadku osiadł w pobliżu Combray, bywał u nas dosyć często. Ale będąc przesadnie drażliwy, przestał nas odwiedzać, aby nie spotkać Swanna, który zawarł, jak to nazywał Vinteuil, „małżeństwo niewłaściwe, w guście dzisiejszej epoki”. Dowiedziawszy się, że komponuje, matka po-

Kwiaty

Artysta

<sup>15</sup>*lorgnon* (z fr.) — okulary z rączką do trzymania. [przypis edytorski]

wiedziała mu przez uprzejmość, że kiedy będzie u niego, musi jej zagrać coś ze swoich utworów. Panu Vinteuil byłoby to sprawiło wielką radość, ale posuwał grzeczność i dobroć do takich skrupułów, że stawiając się zawsze w położeniu innych, bał się ich zdudzić i wydać się im egoistą, jeżeli poddał się swojej ochocie lub bodaj pozwolił ją odgadnąć.

W dniu, w którym rodzice wybrali się do niego, towarzyszyłem im, ale pozwolili mi zostać na dworze, że zaś domek pana Vinteuil w Montjouvain znajdował się u stóp zarośniętego wzgórza, gdzie się ukryłem, znalazłem się na równej wysokości z salonem drugiego piętra, o pięćdziesiąt centymetrów od okna. Kiedy oznajmiono rodziców, widziałem, jak pan Vinteuil spieszy się, aby ułożyć w widocznym miejscu na fortepianie nuty. Ale skoro tylko rodzice weszli, zdjął je i schował w kącie. Zapewne zląkł się, że mogliby przypuszczać, iż rad jest ich widzieć jedynie dlatego, aby im przeagrać swoją kompozycję. I za każdym razem, kiedy w ciągu wizyty matka wróciła do tego tematu, on powtarzał kilkakrotnie: „Ależ ja nie wiem, kto to położył na fortepianie, to nie jest miejsce” i odwracał rozmowę na inne przedmioty właśnie dlatego, że go interesowały mniej. Jedyną jego namiętnością była córka; wyglądała na chłopca i zdawała się tak silna, że nie można było się wstrzymać od uśmiechu na widok względów, jakimi ojciec ją otacza, zawsze znajdując jakieś dodatkowe szale, które jej narzucał na ramiona. Babka zwracała uwagę, jaki słodki, delikatny, nieomal lękliwy wyraz przemykał często w oczach tej tak szorstkiej dziewczyny, której twarz usiana była piegami. Kiedy wyrzekła jakie słowo, natychmiast słyszała je uszami tych, do których mówiła, niepokoiła się możliwością nieporozumienia, widziało się, jak na jej męskiej twarzy „dobrego chłopca” błyskają, odcinają się jakby przeświecające subtelniejsze rysy zapłakanej młodej dziewczyny.

Kiedy w chwili wyjścia z kościoła ukląknęłam przed ołtarzem, uczułem nagle, wstając, że z głogów wydziela się gorzki i słodki zapach migdałów; zauważyłem wówczas na kwiatkach złotawe punkciki, pod którymi wyobrażałem sobie, że musi być ukryty ten zapach, niby pod zapiekаныmi miejscami smak migdałowego kremu albo pod piegami smak policzek panny Vinteuil. Mimo milczącej nieruchomości głogów, ten dorywczy zapach był jak szept ich wzmożonego życia; ołtarz drgał nim niby żywopłot nawiedzony przez żywe macki, które przywoził na myśl widok pręcików prawie rudych, zachowujących jakby wiosenną energię i drażniącą siłę owadów dziś przeobrażonych w kwiaty.

Rozmawialiśmy chwilę z panem Vinteuil przed kruchtą, wychodząc z kościoła. Wmieszaliśmy się między chłopców, którzy się bili na placyku; brał w obronę mniejszych, prawil kazania większym. Kiedy panna Vinteuil oświadczyła swoim grubym głosem, iż rada jest nas widzieć, zaraz zdawało się, że w niej samej jakaś wrażliwsza siostra rumieni się za to odezwanie się roztrzepanego pocziwego chłopca, które mogłoby w nas obudzić myśl, że ona pragnie, abyśmy ją zaprosili do siebie. Pan Vinteuil narzucał jej płaszcz na ramiona, wsiadali do małej bryczuszki, którą ona powoziła sama, i wracali do Mantjouvain. Nazajutrz była niedziela, wstawalo się aż na sumę, zatem jeżeli był księżyc i jeżeli było ciepło, zamiast wracać prostą drogą, ojciec z dumą przewodnika prowadził nas przez Kalwarię na długi spacer, w którym słaba zdolność orientacyjna i topograficzna matki kazała jej widzieć niemal dowód strategicznego geniuszu. Czasami szliśmy aż do wiaduktu, którego kamienne progi zaczynały się od dworca i wyobrażały dla mnie wygnanie i rozpacz, kres cywilizowanego świata, ponieważ co rok w chwili przyjazdu z Paryża zalecano nam dobrze uważać, kiedy będzie Combray, nie przeoczyć stacji, być gotowym zawczasu, bo pociąg rusza po dwóch minutach i zapuszcza się wiaduktem poza kraje chrześcijańskie, których Combray znaczyło dla mnie ostateczną granicę.

Wracaliśmy aleją Dworcową, gdzie znajdowały się najładniejsze wille w gminie. W każdym ogrodzie blask księżycy, niby na obrazach Huberta Roberta, rozrzucał połamane stopnie z białego marmuru, wodotryski, uchylone furtki. Blask księżycy zburzył biuro telegraficzne. Została zeń jedynie kolumna na wpół złamana, ale zachowująca piękność nieśmiertelnej ruiny. Wlokłem nogi, upadałem z senności, zapach lip nasycający powietrze wydawał mi się jakby nagroda, którą można było uzyskać jedynie za cenę największego zmęczenia i niewartą tej ceny. Z nielicznych ogródków, psy zbudzone naszymi samotnymi krokami nawoływały się szczekaniem; zdarza mi się niekiedy jeszcze słyszeć je wieczorem, a między nie musiała się schronić aleja Dworcowa (kiedy na jej miejscu stworzono w Combray publiczny ogród), bo gdziekolwiek się znajdę, z chwilą, gdy te

Kwiaty, Zapach

Droga, Noc

szczekania zaczęła się rozlegać i odpowiadać sobie, widząc aleję z jej lipami i z chodnikiem oświetlonym przez księżyc.

Naraz ojciec zatrzymywał nas i pytał matki: „Gdzie jesteście?” Wyczerpana wędrówką, ale dumna z niego, wyznawała mu tklawie, że nie ma pojęcia. Wzruszał ramionami i śmiał się. Wówczas, tak jakby wydobył z kieszeni wraz z kluczem tylną furtkę ogrodu, pokazywał ją nam stojącą przed nami; rzekłbyś, przybyła wraz z rogiem ulicy św. Ducha, aby nas oczekiwać na końcu tych nieznanych dróg. Matka powiadała z podziwem: „Ty jesteś nadzwyczajny!” I począwszy od tej chwili nie potrzebowałem już robić ani kroku, ziemia szła za mnie w tym ogrodzie, gdzie od tak dawna moim czynnościami przestała towarzyszyć świadoma uwaga: *przyzwyczajenie* brało mnie w swoje ramiona i niosło mnie jak małe dziecko do łóżka.

Sobota, która zaczynała się o godzinę wcześniej i odrywała Franciszkę, mijala dla ciotki Leonii wolniej niż każdy inny dzień; mimo to, od początku tygodnia oczekiwała niecierpliwie jej powrotu, jakby ten dzień zawierał wszelką nowość i rozrywkę, jaką było jeszcze zdolne znieść jej wycieńczone i pomyłone ciało. Nie znaczy to, aby nie wdychała chwilami do jakiej wielkiej zmiany, aby nie miała owych wyjątkowych godzin, w których łaknie się czegoś innego niż to, co jest, i kiedy ci, którym brak energii albo wyobraźni nie pozwala zdobyć z samych siebie czynnika odnowy, żądają od nadchodzącej minuty, od dzwonnika listonosza, aby im przyniosły coś nowego, choćby gorszego, wzruszenie, boleść. Wówczas wrażliwość, której szczęście kazało zmiłknąć niby bezczynnej harfie, chce odbrzmiewać pod jakąś ręką, choćby brutalną i choćby miała pęknąć od tego; woła, która z takim trudem zdobyła prawo oddania się bez przeszkód swoim pragnieniom, swoim bólowi, chciałaby rzucić lejce w ręce przemożnych wypadków, choćby miały być okrutne. Bez wątpienia, ponieważ siły ciotki Leonii, odmawiające usług przy najmniejszym zmęczeniu, wracały jej jedynie kroplami na łonie spoczynku, zbiornik napełniał się bardzo długo; mijaly miesiące, zanim zyskała ten lekki nadmiar, który inni wyładowują w energii działania, a którego ona ani wiedziała, jak użyć ani mogła się zdecydować na jego użycie. Ot, zastąpić kartofle tłuczone kartoflami z beszamelem, aby z tym większą radością wrócić po jakimś czasie do tłuczonych kartofli, które jej „nie nużyły”. Ale podejrzewam, że z kumulacji jednostajnych dni, do których była tak przywiązana, ciocia Leonia czerpała oczekiwanie jakiegoś domowego kataklizmu, ograniczonego do jednej chwili, ale takiej która by ją zmusiła do czynu: wówczas dokonałaby może raz na zawsze jednej z owych zmian, których zbawienność uznawała, a na które sama z siebie nie mogła się zdobyć. Kochała nas prawdziwie, znajdowałaby przyjemność w tym, aby nas oplakiwać. Gdyby tak w chwili, gdy czuła się dobrze i nie była spocona, zjawiła się wiadomość, że dom jest pastwą pożaru i żeśmy wszyscy zginęli i że niebawem nie zostanie ani jeden kamień tych murów, z których jednak ona będzie miała czas uciec bez pośpiechu pod warunkiem, że wstanie natychmiast? W marzeniu tym korzyści uboczne — iż może się napawać w długim żalu całą swoją czułością dla nas i być przedmiotem zdumienia miasteczka, gdy będzie prowadziła nasz kondukt, mężna i przybita, umierająca, ale trzymająca się dzielnie — łączyły się z korzyścią o wiele cenniejszą, że ją to zmusi w dobrym momencie, bez chwili czasu do stracenia i bez możliwości denerwujących wahań, spędzić lato w jej ładnej posiadłości Mirougrain, gdzie był wodospad.

Nigdy nie zdarzył się żaden tego rodzaju wypadek, którego z pewnością ciocia Leonia obliczała szanse, siedząc pogrążona w nieskończonych pasjansach. Gdyby się nawet zdarzył, przywiódłby ją od pierwszej chwili do rozpaczliwej realnej prawdą drobnych nieprzewidywanych faktów, niepodobnym do zapomnienia akcentem słów zwiastujących złą nowinę, wszystkimi znamionami śmierci rzeczywistej, bardzo różnej od jej logicznej i oderwanej możliwości. Aby więc uczynić od czasu do czasu swoje życie bardziej interesującym, ciocia poprzestawała na katastrofach urojonych, które wprawiała w ruch i śledziła z namiętnością. Lubiła nagle przypuszczać, że ją Franciszka okrada, że ona się ucieka do podstępów, aby się o tym przekonać, że ją łapie na gorącym uczynku. Przyzwyczajona, kiedy grała sama ze sobą w karty, grać równocześnie za siebie i za przeciwnika, sama wkładała w usta Franciszce mętne usprawiedliwienia i odpowiadała na nie z takim ogniem i oburzeniem, że kiedy ktoś z nas wszedł w tej chwili, zastawał ją całą spoconą, z błyszczącymi oczami, z fałszywym kokiem przekrzywionym i odsłaniającym jej tyse czoło. Franciszka słyszała może czasami z sąsiedniego pokoju gryzące sarkazmy, które ciocia zwracała do niej,

Choroba, Katastrofa,  
Marzenie, Czyn

Sługa, Pan, Król

a których obmyślanie nie byłoby przyniosło dostatecznej ulgi, gdyby zostały w postaci całkowicie niematerialnej i gdyby ciocia nie przydała im realności, mruczając je półgłosem.

Czasami nawet ten „teatr w łóżku” nie wystarczał cioci; chciała wystawiać swoje sztuki. Wówczas jednej niedzieli, zamknąwszy tajemniczo wszystkie drzwi, powierzała Eulalii wszystkie swoje wątpliwości co do uczciwości Franciszki, swoją intencję pozbycia się służącej; innym razem Franciszce swoje podejrzenia co do dwulicowości Eulalii, którą trzeba będzie niebawem wyrzucić; w kilka dni później brzydziła sobie swoją wczorajszą powiernicę i kumała się ze zdrajczynią, przy czym na następne przedstawienie powiernica i zdrajczyni miały odmienić role.

Ale podejrzenia, które mogła w niej czasami budzić Eulalia, były jedynie słomianym ogniem i gasły szybko dla braku pożywki, ile że Eulalia nie mieszkała w domu. Inaczej z posądzaniami tyczącymi Franciszki, którą ciocia miała ustawicznie pod tym samym dachem, przy czym z obawy zaziębnienia się w razie opuszczenia łóżka, nie miała odwagi zejść do kuchni i przekonać się, czy podejrzenia jej są uzasadnione. Z czasem umysł jej nie miał już innego zatrudnienia niż starać się zgadnąć, co w każdej chwili Franciszka może robić i starać się ukryć to przed nią. Zważała najulotniejsze drgnienia jej twarzy, najmniejszą sprzeczność w słowach, cień jakiejś intencji. I okazywała jej, że ją zdemaszkowała — pokazywała to jednym słowem, od którego Franciszka bladła; i czyniła sobie okrutną zabawę z tego, aby to słowo znaleźć i wbić je w serce nieszczęśliwej. I następnej niedzieli rewelacja Eulalii — jak owe odkrycia, które otwierają nagle nieoczekiwane pole dla rodzącej się wiedzy, wlokącej się utartą koleiną — dowodziła cioci, że jej domysły były jeszcze o wiele poniżej prawdy.

— Ale Franciszka musi to wiedzieć teraz, że jej pani dała powóz.

— Ja jej dałam powóz! — krzyczała ciocia.

— Och, ja nie wiem, ja myślałam, widziałam ją jak teraz rozbija się powozem, dumna jak ten Herod, jadąc na targ do Roussainville. Myślałam, że to pani Oktawowa jej darowała.

Z czasem Franciszka i ciocia Leonia, niby zwierzę i myśliwiec, żyły już tylko tym, że wzajem uprzedzały swoje podstępny. Matka bała się, aby się we Franciszce nie rozwinęła prawdziwa nienawiść do cioci Leonii, która obrażała ją najciężej, jak mogła. W każdym razie Franciszka przywiązywała coraz baczniejszą uwagę do najmniejszego słowa, do najłżejszego gestu cioci. Kiedy miała się jej o coś spytać, długo wahała się, w jaki sposób przystąpić do tego. I kiedy przedstawiła swoją petycję, obserwowała ukradkiem ciocię, starając się odgadnąć z jej twarzy, co ona pomyślała i co zdecyduje. Ten i ów artysta, czytając pamiętniki z XVII wieku i pragnąc zbliżyć się do wielkiego króla, sądzi, że obrał najwłaściwszą drogę, fabrykując sobie rodowód wiodący go od historycznych figur lub podtrzymując korespondencję z którymś z dzisiejszych monarchów; i właśnie obraca się plecami do tego, czego błędnie szuka w formach identycznych, tym samym martwych. Natomiast stara dama z prowincji, która poddaje się po prostu i szczerze swoim nieodpartym maniom oraz złośliwości zrodzonej z próżniactwa, może ujrzyć — nie pomyślawszy nigdy o Ludwiku XIV — jak najbłahsze wydarzenia dnia, tyczące jej wstania, śniadania, spoczynku, przybierają przez swoje despotyczne dziwactwa coś z tego co Saint-Simon nazywa „mechaniką” życia w Wersalu. I ciocia Leonia mogła być przekonana, że każde jej milczenie, odcień dobrego humoru lub dąsu na jej fizjonomii są dla Franciszki przedmiotem komentarza równie namiętnego, równie trwożliwego jak milczenie, dobry humor, wyniosłość króla były źródłem wzruszeń dla dworzanina lub nawet dla największych panów, kiedy na zakręcie alei w Wersalu wręczali suplikę.

Jednej niedzieli, kiedy ciocia miała jednoczesną wizytę proboszcza i Eulalii i potem odpoczywała, zasłiśmy wszyscy, aby jej powiedzieć dobranoc, przy czym mama wyrażała jej współczucie z powodu złej doli, która zawsze sprowadza gości o tej samej porze:

— Wiem, że znowu wizyty źle wypadły, Leonio — rzekła łagodnie — znów zesłi się wszyscy twój goście naraz...

Cioteczna babka przerwała jej, mówiąc: „Od przybytku”... bo od czasu jak córka jej była chora, uważała, że trzeba ją krzepić, przedstawiając jej każdą rzecz z dobrej strony. Ale ojciec rzekł swoje:

— Chcę skorzystać — rzekł — z tego, że cała rodzina jest zebrana, aby wam coś opowiedzieć i nie musiec powtarzac każdemu. Boję się, żeśmy czymś urazili pana Legrandin; ledwo się dziś ze mną przywitał.

Nie dosłuchałem opowiadania ojca, bo właśnie towarzyszyłem mu po mszy, kiedyśmy spotkali pana Legrandin; zeszedłem tedy do kuchni spytać o menu, które co dnia bawiło mnie niby nowiny w dzienniku i podniecało mnie jak program zabawy. Kiedy pan Legrandin mijał nas wychodząc z kościoła przy boku okolicznej damy, którą znaleźmy tylko z widzenia, ojciec uklonił mu się zarazem przyjaźnie i ceremonialnie, nie zatrzymując się. Pan Legrandin ledwie się odklonił ze zdziwioną miną, tak jakby nas nie poznawał, z owym spojrzeniem właściwym osobom, które nie chcą być uprzejme i które z przedłużonej nagle głębi oczu patrzą jakby was spostrzegli gdzieś na skraju nieskończonej drogi i na tak wielką odległość, że poprzestają na lekkim skinieniu głowy, aby je dostosować do waszych miniaturowych proporcji.

Dama, której towarzyszył Legrandin, była to osoba cnotliwa i szanowana; nie mogło być mowy o tym, aby go coś z nią łączyło i aby był zakłopotany tym, że go „nakryto”; toteż ojciec pytał sam siebie, czym mógł narazić się panu Legrandin.

— Tym bardziej byłoby mi przykro gdybym go uraził — rzekł ojciec, — że pośród wszystkich tych wykrochmalonych figur on ma w swojej kurteczce, w swoim niedbałym fontaziu, coś tak swobodnego, tak szczerze naturalnego, naiwnego prawie, co mi jest na wskroś sympatyczne.

Ale rada rodzinna uznała jednogłośnie, że musiało się ojcu coś przywidzieć lub że Legrandin musiał być w tej chwili pochłonięty jakąś myślą. Zresztą obawa ojca rozwiązała się nazajutrz wieczór. Kiedyśmy wracali z dalekiej przechadzki, spostrzegliśmy koło Starego Mostu Legrandina, który, korzystając ze świąt, został kilka dni w Combray. Podszedł do nas z wyciągniętą prawicą:

— Czy zna pan, młody pożeracz książek — spytał — ten wiersz Pawła Desjardins:

Las już jest czarny, błękitne jeszcze niebo...

Czy to nie jest subtelny obraz tej właśnie godziny? Nie czytałeś może nigdy Pawła Desjardins. Czytaj go, dziecię; dziś zmienił się on podobno w kaznodzieję, ale przez długi czas był to nieskazitelny akwarelista...

Las już jest czarny, błękitne jeszcze niebo...

Niechaj niebo zawsze zostanie dla ciebie błękitne, młody przyjacielu; i nawet w godzinie, która nadchodzi dla mnie teraz, kiedy las jest już czarny, kiedy noc zapada szybko, pocieszysz się jak ja, patrząc w stronę nieba.

Wyjął z kieszeni papierosa i długo trwał z oczyma wlepionymi w dal.

— Bywajcie, towarzysze! — rzekł nagle i opuścił nas.

W chwili kiedy zaszedłem dowiedzieć się o menu, obiad był już rozpoczęty i Franciszka, rozkazując siłom przyrody zmienionym w jej pomocnice — niby w feeriach, w których olbrzymy pełnią funkcje kucharzy — poruszała węgle, stawiała na parze kartofle, wykończyła ogniem arcydzieła kulinarne zawczasu przygotowane we właściwych naczyniach, przebiegających skalę od wielkich kadzi, garnków, garnuszków i wanien na ryby aż do kamionek na dziczyznę, forem na ciasto, garnuszków na śmietankę, przechodząc przez kompletną kolekcję rondli wszystkich wymiarów. Oglądałem na stole, gdzie dziewczyna luskala groszek, ułożone szeregiem zielone kulki — niby do jakiejś gry; ale zachwyty mój wzmógł się wobec szparagów, nasyconych ultramarzyną i różowością, a których pręt, delikatnie pocętkowany fioletem i lazurem, blednie nieznacznie w iryzacjach niebędących z ziemi, aż do stóp, jeszcze powalanych glebą, w której tkwiły. Zdawało mi się, że w tych niebiańskich odcieniach demaskują się rozkoszne istoty, które dla zabawy przedzierzgnęły się w jarzyny, ale poprzez kostium swego jadalnego i jędrnego ciała, w owych kolorach rodzącej się jutrzeńki, w owych szkicach tęczy, w owym zamieraniu błękitnych wieczorów, objawiają swoją szacowną esencję. Poznawałem ją jeszcze, kiedy, przez całą noc po owym obiedzie, zabawiały się w swoich psotach — poetycznych i grubych niby feeria Szekspira — tym, aby zmienić mój nocnik w naczynie wonności.



Biedna Caritas Giotta, jak ją nazywał Swann, obarczona przez Franciszkę zadaniem obierania szparagów, miała je koło siebie w koszyku; twarz jej była bolesna, jak gdyby odczuwała wszystkie niedole ziemi; a lekkie wianki lazuru, przepasujące szparagi ponad ich różanymi tunikami, rysowały się delikatnie, gwiazda w gwiazdkę, tak jak na fresku kwiaty okalające czoło Cnoty padewskiej lub ułożone w jej koszyku. A przez ten czas Franciszka obracała na różnie kurczęta, które tylko ona umiała tak upiec, a które niosły daleko na Combray zapach jej zalet. Kiedy je Franciszka podawała na stół, byłem skłonny wierzyć, że dominującą cechą jej charakteru jest łagodność, ile że aromat tego mięsa, które umiała uczynić tak miękkim i soczystym, był dla mnie jedynie swoistym zapachem jednej z jej cnot.

Ale dzień, w którym (podczas gdy ojciec przedkładał radzie rodzinnej sprawę pana Legrandin) zeszedłem do kuchni, był jednym z dni, gdy Caritas Giotta, bardzo chora od swego niedawnego porodu, nie mogła wstać; Franciszka, pozbawiona pomocy, spóźniła się. Kiedyś się znalazł na dole, była w trakcie zabijania kurczęcia. Jego rozpaczliwy a bardzo naturalny opór — oraz towarzyszące mu krzyki podnieconej Franciszki, która siliła się przeciąć kurczakowi szyję pod uchem i krzyczała: „paskudne bydlę! paskudne bydlę! — stawiały świętą słodycz i namaszczenie naszej służącej w nieco mniej jasnym świetle, niżby to uczyniło, w czasie jutrzejszego obiadu, to samo kurczę, swoją skórą haftowaną złotem na kształt ornatu i swoim szacownym sokiem kapiącym niby z cyborium. Kiedy kurczę było martwe, Franciszka zebrała krew, której upływ nie zdołał zgasić jej urazy; jeszcze w ataku gniewu, patrząc na trupa swego wroga, rzekła ostatni raz: „Paskudne bydlę!”

Wyszedłem cały drżący; byłbym chciał, aby Franciszkę zaraz wyrzuciono ze służby. Ale kto by mi przyrządzał pączki takie ciepłe, kawę tak pachnącą, a nawet... takie kurczęta?... I w istocie wszyscy jak ja musieli robić ten sam podły rachunek. Bo ciotka wiedziała — czego ja jeszcze nie wiedziałem — że Franciszka, która dla swojej córki, dla siostrzeńców, oddałaby życie bez skargi, była dla innych istot szczególnie twarda. Mimo to ciotka trzymała ją, bo, o ile znała jej okrucieństwo, ceniła jej usługi. Spostrzegłem pomału, że słodycz, takt, cnoty Franciszki kryły niejedną tragedię kuchenną; tak jak historia odkrywa, że panowanie królów i królowych, którzy figurują ze złożonymi dłońmi w witrażach kościelnych, znaczyło się krwawymi wypadkami. Zdałem sobie sprawę, że poza jej krewieństwem<sup>16</sup>, nieszczęścia ludzkie budzą we Franciszce tym więcej litości, im dalej ci ludzie znajdują się od niej. Strumienie łez, jakie lała nad niedolami obcych, czytając gazetę, wysychały szybko, kiedy mogła sobie wyobrazić nieco ściślej osobę będącą przedmiotem współczucia. Którejś nocy po swoim porodzie dziewczyna kuchenna dostała straszliwych boleści; mama usłyszała jej jęk, wstała i obudziła Franciszkę, która, bez śladu wzruszenia, oświadczyła, że wszystkie te krzyki to czysta komedia i „fochy”. Lekarz, który się bał takiego ataku bólów, założył kartkę w lekarskiej książce (która była w domu) na opisie tych objawów i kazał nam zajrzeć tam, aby znaleźć wskazówki co do pierwszej pomocy. Matka posłała Franciszkę po książkę, zalecając, aby nie zgubiła znaku. Po godzinie Franciszka jeszcze nie wróciła; matka, oburzona, myśląc, że się położyła z powrotem, poleciła mi, żebym sam zobaczył w bibliotece. Zastałem Franciszkę, która chcąc sprawdzić, co oznacza znak, czytała kliniczny opis ataku, szlochając teraz, kiedy chodziło o abstrakcyjnego chorego, którego nie znała. Za każdym bolesnym objawem wyszczególnionym przez autora wykrzykiwała:

— Och! Panno Najświętsza, czy to może być, aby Pan Bóg tak się znęcał nad ludzką istotą? Och! biedactwo!

Ale z chwilą, kiedy ją zwołał i kiedy wróciła do łóżka „Miłosierdzia” Giotta, lzy jej przestały natychmiast płynąć, nie mogła rozpoznać ani tego miłego, dobrze jej znajomego uczucia litości i rozczulenia, które jej często dawała lektura dzienników, ani żadnej przyjemności tego samego gatunku. Znudzona i zirytowana tym, że musiała wstawać o północy dla pomywaczki, znalazła na widok tych samych cierpień, których opis wyciskał jej lzy, jedynie niechętnie pomruki, a nawet krwawe sarkazmy, kiedy myślała, żeśmy już poszli i że jej już nie usłyszymy:

<sup>16</sup>krewieństwo (daw.) — krewni, rodzina. [przypis edytorski]

— Nie trza było tego robić, a nie byłaby się dowojowała! A przyjemność swoją miała! niechże teraz nie robi komedii. Musiał ten chłopak nie mieć Boga w sercu, żeby się tryksać z *takim coś*. Och, dobrze to mówią w stronach mojej biednej matki:

Kto się w psim kuprze zadurzy.  
Temu pachnie pięknie róży.

Kiedy wnuk Franciszki miał trochę kataru, spieszyła w nocy, nawet chora, zamiast się położyć, aby zobaczyć, czy nie potrzebuje czego. Robiła cztery miłe pieszo przededniem, aby zdążyć do swojej roboty. W zamian za to, ta sama miłość swoich i żądza utrwalenia przyszłej wielkości rodu, wyrażały się w stosunku Franciszki do innych służących w stałej zasadzie, aby nie pozwolić żadnemu z nich zadomowić się u ciotki. To była zresztą sprawa jej ambicji, nie dać się nikomu zbliżyć do cioci Leonii. Wołała, nawet kiedy sama była chora, wstać, aby podać wodę Vichy, niż dozwolić kuchcie wstępu do pokoju pani. I jak ten błonkoskrzydły owad obserwowany przez Fabre'a, chcąc, by młode miały po jego śmierci świeże mięso do jedzenia, wzywa pomocy anatomii w swoim okrucieństwie i pochwywszy pająka, przebija mu z cudowną wiedzą i zręcznością centrum nerwowe, od którego zależy ruch łapek, ale nie inne funkcje życia, w ten sposób, że sparaliżowany pająk, koło którego składa jajka, dostarcza larwom, kiedy się rozwina, zwierzyny uległej, nieszkodliwej, niezdolnej do ucieczki i oporu, ale zgoła niezsutej — tak Franciszka, w swoim wytrwałym zamiarze zatrucia pobytu w domu każdej innej słudze, znajdowała przemyślne i nielitościwe sposoby. W wiele lat potem dowiedzieliśmy się, że jeżeli danego roku jedliśmy prawie co dzień szparagi, to dlatego, że ich zapach przyprawiał biedną dziewczynę skazaną na skrobanie ich o napady astmy tak gwałtowne, iż w końcu trzeba jej było odejść.

Niestety, mieliśmy ostatecznie zmienić pojęcie o panu Legrandin. Było to jednej niedzieli, w jakiś czas po spotkaniu na Starym Moście, po którym ojciec musiał wyznać swój błąd. Msza się właśnie kończyła; wraz ze słońcem i hałasem ulicy wdzierало się do kościoła coś tak mało świętego, że pani Goupil, pani Percepied (wszystko osoby, które przed chwilą, w momencie mego spóźnionego przybycia, trwały z oczami pochłoniętymi modlitwą, tak iż mógłbym nawet przypuszczać, że nie widziały, jak wchodzę, gdyby równocześnie nogi ich nie odsunęły lekko ławeczki, która przeszkadzała mi dostać się do krzesła) zaczynały rozmawiać z nami głośno o przedmiotach całkowicie świeckich, jak gdybyśmy już byli na rynku. Naraz na rozpalonym progu bramy kościelnej ujrzeliśmy pana Legrandin górującego nad pstrym zgielkiem targowym; mąż owej damy, z którąśmy go niedawno spotkali, przedstawiał go właśnie żonie innego wielkiego właściciela z okolicy. Twarz Legrandina promieniała nadzwyczajnym ożywieniem i zapałem; złożył głęboki ukłon z następującym ruchem wstecz, który cofnął jego grzbiet poza pierwotną pozycję, a którego musiał go nauczyć mąż jego siostry, pan de Cambremer. Ten nagły ruch spowodował — w kształcie burzliwej i muskularnej fali — odpływ siedzenia pana Legrandin, o którym nie przypuszczałem, że jest tak mięsiste; i nie wiem czemu, to kołysanie się czystej materii, fala na wskroś cielesna, bez śladu uduchowienia, smagana niby burzą odruchem uniżoności, obudziły nagle w moim pojęciu możliwość Legrandina całkiem niepodobnego temu, któregośmy znali. Dama prosiła go, aby coś powiedział jej stangretowi; podczas gdy szedł do powozu, znamię nieśmiałej i nabożnej radości, które ta prezentacja wycisnęła na jego twarzy, trwało na niej jeszcze. Pograżony jak gdyby we śnie uśmiechał się, po czym spieszenie wrócił do damy; że zaś szedł szybciej niż zazwyczaj, ramiona jego wahały się pociesznie; pochłonięty całkowicie sobą, nie troszcząc się o nic poza tym, wyglądał niby martwa i mechaniczna zabawka szczęścia.

Tymczasem wyszliśmy z kościoła i przechodziliśmy koło niego. Był zbyt dobrze wychowany, aby odwrócić głowę; ale utkwił spojrzenie przesycone nagle głęboką zadumą w tak daleki punkt widnokregu, że nie mógł nas widzieć i nie musiał się nam ukłonić. Twarz jego zachowała wyraz prostoty, a skromna i swobodna marynarka wyglądała jak gdyby zabłąkana wbrew woli w sferę znieprawionego zbytku. I fontaż w groszki, poruszany wietrzykiem, dalej bujał na panu Legrandin niby sztandar jego dumnego odosobnienia i szlachetnej niezależności. W chwili gdyśmy zbliżali się do domu, mama spostrzegła, żeśmy zapomnieli tradycyjnego ciasta „świętego Honoriusza” i poprosiła oj-

Sługa, Pan, Okrucieństwo,  
Pająk

Służalność, Ciało  
Pozycja społeczna

Grzeczność, Obyczaj,  
Wzrok, Ucieczka

ca, aby wrócił ze mną i kazał je przynieść. Niedaleko kościoła minęliśmy pana Legrandin, który szedł w przeciwnym kierunku, prowadząc wciąż tę samą damę. Przeszedł koło nas, nie przestając mówić do sąsiadki i kątem błękitnego oka dał nam lekki — poniekąd wewnątrzpowiekowy — znak, który, nie poruszając mięśni jego twarzy, doskonale mógł ująć uwagi towarzyszki. Siłą uczucia starając się skompensować ciasne nieco pole, w które w lazurowym, wypełnionym nami kąciku, wpisał jego wyraz, pan Legrandin rozpałił cały płomień życzliwości, który przekroczył rozbawienie, otarł się o filuterność, wydestylował finezje uprzejmości aż do znaczących mrugnięć, półsłówek, domyślników, misteriów porozumienia; w końcu wzbil zapewnienia przyjaźni aż do zakłęb czułości, aż do oświadczeń miłosnych, rozświecając w tej chwili dla nas samych sekretnym i niewidocznym dla swej damy liryzmem swoją rozkochaną żrenicę na twarzy z lodu.

Właśnie poprzedniego dnia pan Legrandin prosił rodziców, aby mi pozwolili przyjść doń tego dnia na obiad:

— Przyjdź, młody człowieku, dotrzymać towarzystwa swemu staremu przyjacielowi, powiedział. Pozwól mi odetchnąć niby bukietem, który podróżny przysyła nam z kraju, dokąd już nie wrócimy; pozwól mi odetchnąć z oddali twojej młodości owymi kwiatami wiosny, wśród których i ja chadzałem przed laty. Przyjdź z pierwiosnkiem, z jaskrem, z przylaszczką, przyjdź z kaczeńcem — z których uwity jest wybrany bukiet balzakowskiej flory; ze stokrocią, kwiatem Zmartwychwstania, i z buldenezem<sup>17</sup>, który zaczyna wonieć w ogrodzie twojej ciotki, nim jeszcze ostatnie buldeneże stopnieją od wielkanocnych deszczów. Przynieś mi chlubną jedwabną szatę lilii godną Salomona i wielobarwną emalię bratków; ale przyjdź zwłaszcza z chłodnym jeszcze od ostatnich przymrozków wietrzykiem, który rozchylił pierwszą śniegułkę dla dwóch motylków od rana czekających u drzwi.

Zastanawiano się w domu, czy mam iść mimo wszystko na obiad do pana Legrandin. Ale babka nie chciała wierzyć, żeby on był niegrzeczny. „Przynajecie sami, że nosi się bardzo skromnie, bez cienia światowości”. Oświadczyła, że w każdym razie, w najgorszym wypadku, gdyby i był niegrzeczny, lepiej nie okazywać, że się to zauważyło. Co prawda sam ojciec, który najbardziej był podrażniony zachowaniem się pana Legrandin, miał może resztkę wątpliwości co do jego intencji. Miało ono cechy wszelkiego zachowania się lub uczynku, w których zdradza się czyjś głęboki i ukryty charakter: nie wiąże się z jego dawniejszymi słowami, nie możemy go poprzeć świadectwem winnego, który się nie przyzna; zdani jesteśmy na świadectwo naszych zmysłów, co do których — w obliczu tego odosobnionego i mętnego wspomnienia — pytamy się, czy nie były igraszką złydy; tak że takie postęпки — jedyne które mają znaczenie — zostawiają nam często pewne wątpliwości.

Grzeczność

Prawda

Jadłem obiad z panem Legrandin na tarasie; był księżyc.

— Cudowna cisza, nieprawdaż? — mówił. — O sercach zranionych jak moje powieściopisarz, którego przeczyta pan kiedyś, powiada, że przystoi im jedynie cień i milczenie. I widzisz, dziecko, przychodzi w życiu godzina — jesteś jeszcze od niej bardzo daleko — kiedy znużone oczy znoszą już tylko jedno światło, to, które piękna noc, jak dzisiejsza, przyrządza i sączy wraz z mrokiem; kiedy uszy nie mogą już słuchać innej muzyki prócz tej, którą gra blask księżycy na flecte milczenia.

Słuchałem słów pana Legrandin, które mi się zawsze wydawały tak miłe; ale, wzruszony wspomnieniem kobiety, którą ujrzałem niedawno pierwszy raz, i myśląc, teraz kiedy wiedziałem, że Legrandin zna wielki świat w okolicy, że może zna i ją, zebrałem się na odwagę i rzekłem:

— Czy pan zna, proszę pana, księżnę... księstwo de Guermentes?

Zarazem wymawiając to nazwisko, czułem się szczęśliwy, że rozpościeram nad nim jakby jakąś władzę przez sam fakt wyrwania go z mego marzenia i dania mu obiektywnej i dźwięcznej istności.

Ale na to nazwisko „Guermentes” ujrzałem, iż w błękitnych oczach naszego przyjaciela znaczy się mały ciemny punkcik, jak gdyby je przeszył niewidzialny grot, podczas gdy reszta żrenicy reagowała wydzielając strumienie lazuru. Obwódka powiek poczerwiała,

<sup>17</sup>*buldenez* — fr. *boule de neige*, dosł.: kula śniegu; tu: najpierw użyte jako nazwa kwiatu (dziś: odmiana peonii), a następnie w znaczeniu dosłownym. [przypis edytorski]

obwisła. A usta jego, naznaczone gorzkim faldem, opamiętując się szybciej, uśmiechnęły się — podczas gdy spojrzenie wciąż było bolesne — jak usta pięknego męczennika, którego ciało najeżone jest strzałami: „Nie, nie znam”, rzekł; ale zamiast wyjaśnienia tak prostemu, odpowiedzi tak mało zadziwiającej, dać właściwy im naturalny i potoczny ton, Legrandin wypowiedział je, akcentując każde słowo, pochylając się, skłaniając głowę, z naciskiem mającym zyskać wiarę dla twierdzenia nieprawdopodobnego — jak gdyby fakt, że on nie zna Guermantów mógł być jedynie wynikiem osobliwego trafu — a także z emfazą człowieka, który, nie mogąc zamilczeć przykrej dlań sytuacji, woli ją obwieścić, aby przekonać innych, że to wyznanie nie sprawia mu żadnego kłopotu, że jest łatwe, miłe, swobodne, że sama sytuacja — brak stosunków z Guermantami — mogłaby snadnie być nie koniecznością, ale czymś dobrowolnym, wynikłym z jakiejś tradycji rodzinnej, z zasady moralnej lub z mistycznego ślubu zabraniającego mu specjalnie obcować z Guermantami.

— Nie — podjął, nadając słowom swoistą intonację — nie, nie znam ich, nie chciałem tego, zawsze dbałem o to, aby bronić swojej pełnej niezależności; w gruncie, wie pan, ja jestem kawałek jakobina. Wiele osób nagabywało mnie; powiadano mi, że źle robię, nie bywając w Guermantes, że robię z siebie jakiegoś gbura, odludka. Ale tego rodzaju reputacja nie przeraża mnie; jest tak bliska prawdy! W gruncie kocham w świecie jedynie kilka kościołów, parę ksiązek, kilka obrazów i światło księżycy, kiedy fala twojej młodości niesie do mnie woń kwiatów, których moje stare żrenice już nie dostrzegają.

Nie bardzo rozumiałem, czemu, po to aby nie bywać u ludzi, których się nie zna, trzeba strzec swojej niezależności i w czym mogło to dawać komuś pozór gbura lub odludka. Ale rozumiałem tyle, że Legrandin nie był zupełnie szczery, mówiąc, że lubi tylko kościoły, blask księżycy i młodość; bardzo lubił wielkich panów i czuł się wobec nich tak spłoszony, że nie śmiał zdradzić przed nimi, iż ma przyjaciół mieszczan, synów rejentów lub agentów giełdowych, wołąc, gdyby prawda miała wyjść na jaw, aby to było w jego nieobecności, z dala od niego i zaocznie: Legrandin był snob. Bez wątpienia nie mówił nigdy nic o tym wszystkim w języku, który moi rodzice i ja takeśmy lubili. I kiedy go spytałem: „Czy pan zna Guermantów?”, Legrandin-causeur<sup>18</sup> odpowiadał: „Nie, nigdy nie życzyłem sobie ich poznać”. Na nieszczęście odpowiadał po niewczasie, bo inny Legrandin — którego krył troskliwie w cieniu, którego nie pokazywał, bo ten Legrandin wiedział o naszym Legrandinie, o jego snobizmie, kompromitujące historie — inny Legrandin odpowiedział już raną swego spojrzenia, skurczem ust, nadmierną powagą głosu, tysiącem strzał, którymi nasz Legrandin uczuł się w jednej chwili przesyty i pocętkowany niby święty Sebastian snobizmu: „Och jaką mi ty mękę zadajesz, nie, nie znam Guermantów, nie budź wielkiego bólu mego życia”. Że zaś ten Legrandin-*enfant terrible*<sup>19</sup>, ten Legrandin szantażysta, o ile nie miał kwiecistego wysłowienia pierwszego, miał w zamian słowo o wiele bardziej rącze, złożone z tego, co się nazywa „odruchami”, kiedy Legrandin piękności chciał mu nakazać milczenie, tamten już się wygadał i nasz przyjaciel darmo się martwił złym wrażeniem, jakie rewelacje jego sobowtóra mogły sprawić, mógł już jedynie starać się je złagodzić.

I z pewnością to nie znaczy, aby pan Legrandin nie był szczery, kiedy grzmiał przeciw snobom. Nie mógł wiedzieć, przynajmniej sam z siebie, że jest snob. Znamy jedynie namiętności drugich; a jedynie od drugich możemy się dowiedzieć tego, co wiemy o naszych. Na nas działają one w sposób wtórny, przez wyobraźnię, która pod pierwotne pobudki podstawia pobudki zastępcze, przyzwoitsze. Nigdy snobizm Legrandina nie doradzał mu, aby często odwiedzał jakąś księżnę. Zlecał tylko wyobraźni pana Legrandin, żeby mu ukazała tę księżnę jako osobę strojną we wszystkie uroki. Legrandin zbliżał się do księżnej, wierząc iż ulega owemu powabowi rozumu i cnoty, jakiego nie znają bezecne snoby. Jedynie inni wiedzieli, że on był snob; niezdolni bowiem zrozumieć stopniowej pracy jego wyobraźni, widzieli tylko światową zabieglivość Legrandina i jej pierwszą przyczynę.

Obecnie nikt u nas nie miał złudzenia co do pana Legrandin i nasze stosunki bardzo się rozluźniły. Mama bawiła się szczerze za każdym razem, kiedy złapała Legrandina na

<sup>18</sup>causeur (fr.) — gawędziarz. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>enfant terrible (fr.) — dosł.: okropne dziecko; bachor; przen. człowiek niesubordynowany, nieumiejący się zachować, nietaktowny, niedyskretny. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna

Sobowtór

grzechu, do którego się nie przyznawał i który dalej nazywał grzechem bez odpuszczenia, na snobizmie. Ojciec nie umiał brać fumów Legrandina tak swobodnie i wesoło; kiedy jednego roku zamierzano posłać mnie na wakacje z babką do Balbec, ojciec rzekł:

— Muszę koniecznie powiedzieć Legrandinowi, że jedziecie do Balbec, aby się przekonąć, czy zaofiaruje się zapoznać was ze swoją siostrą. Z pewnością tego nie pamięta, ale mówił nam, że ona mieszka o dwa kilometry stamtąd.

Babka uważała, że w miejscu kąpielowym trzeba być od rana do wieczora na plaży, oddychać solą i że się nie powinno znać nikogo, bo wizyty i spacerki kradną czas morskemu powietrzu. Prosiła, aby nie mówić panu Legrandin o naszych projektach: już widziała siostrę jego, panią de Cambremer, zjawiającą się w hotelu w chwili, kiedy my będziemy się wybierali na połów ryb i zmuszającą nas do siedzenia w pokoju podczas jej wizyty. Mama śmiała się z jej obaw, myśląc w duchu, że niebezpieczeństwo nie jest tak groźne, że panu Legrandin nie będzie tak spieszo zapoznać nas z siostrą. Ale zanim wspomnieliśmy mu o Balbec, sam Legrandin, nie podejrzewając, abyśmy się kiedy wybrali w tamte strony, wpakował się w pułapkę pewnego dnia, kiedyśmy go spotkali na brzegu Vivonne.

— Dziś wieczór chmury mają fiolet i błękit bardzo piękny, nieprawdaż, druhu? — rzekł do ojca — ten błękit zwłaszcza, bardziej roślinny niż powietrzny, błękit cynerarii, dość niezwykły na niebie. A ta mała różowa chmurka, czy też nie ma barwy kwiatu, goździka albo nenufara? Jedynie nad kanałem la Manche, między Normandią a Bretanią, mogłem robić równie bogate spostrzeżenia co do tego roślinnego królestwa atmosfery. Tam, koło Balbec, w pobliżu miejsc tak dzikich, jest mała zatoka czarująca słodyczą, gdzie zachód słońca właściwy krainie Auge, zachód słońca czerwony i złoty — którym zresztą bynajmniej nie gardzę — jest bez charakteru, nieznaczący; ale w tej wilgotnej i łagodnej atmosferze rozwijają się wieczorem w mgnieniu oka owe bukiety powietrzne, błękitne i różowe — nieporównane — które czasem nie wędzną przez całe godziny. Inne opadają natychmiast i wówczas jeszcze bardziej urocze jest widzieć całe niebo wysłane bezlikiem płatków koloru siarki lub róży. W tej zatoce, zwanej Opalową, złociste plaże wydają się jeszcze bardziej lubie przez to, że są przywiązane, niby jasnłosa Andromeda, do tych straszliwych skał u sąsiednich zboczy, do tego złowrogiego i słynnego tyłoma rozbiciami brzegu, gdzie co zimę tyle łodzi ginie od gniewu morza. Balbec! najstarszy kościec geologiczny naszego globu, prawdziwe Ar-mor, morze, koniec ziemi, przeklęta kraina, którą Anatol France — czarodziej godny lektury naszego młodego przyjaciela — tak dobrze odmalował, pod jej wiekuistymi mgłami, jako prawdziwy kraj Cymeryjczyków w *Odyssei*. W Balbec zwłaszcza, gdzie już budują się hotele, wyrastające na starożytnym i uroczym gruncie, którego niezdolne są odmienić, cóż za rozkosz mieć o dwa kroki te okolice tak pierwotne, a tak piękne!

— A czy pan zna kogo w Balbec? — rzekł ojciec. — Właśnie ten mały ma tam jechać na dwa miesiące z babką, a może i z moją żoną.

Legrandin, zaskoczony tym pytaniem w chwili, gdy wzrok jego był wlepiony w ojca, nie mógł go odwrócić, ale, wpijając go z każdą sekundą coraz usilniej — i uśmiechając się zarazem smutno — w oczy swego rozmówcy, z wyrazem przyjaźni i szczerości, która nie lęka się patrzeć wprost, zdawał się przesywać jego twarz, tak jakby się stała przezroczysta, i widzieć w tej chwili, o wiele poza nią, żywo zabarwioną chmurę, stwarzającą mu duchowe alibi i pozwalającą mu ustalić, że w chwili, gdy go pytano, czy zna kogo w Balbec, myślał o czym innym i nie słyszał pytania. Zazwyczaj takie spojrzenia ściągają pytanie rozmówcy: „O czym pan myśli?” Ale ojciec, zaciekawiony, podrażniony i okrutny, podjął:

— Czy pan ma jakich przyjaciół w tych stronach, że pan zna tak dobrze Balbec?

Ostatnim rozpaczliwym wysiłkiem uśmiechnięte spojrzenie Legrandina dosięgło maksimum serdeczności, mglistości, szczerości i roztargnienia; ale uważając z pewnością, że nie pozostaje mu nic, jak tylko odpowiedzieć, rzekł:

— Mam przyjaciół wszędzie, gdzie są kępy zranionych, ale niezwykniętych drzew, skupiających się, aby z patetycznym uporem błagać wspólnie nielaskawego nieba, które nie ma nad nimi litości.

— Nie to chciałem powiedzieć — przerwał ojciec, równie uparty jak drzewa, a równie nielitościwy jak niebo. — Pytałem na wypadek, gdyby się cokolwiek zdarzyło mojej teściowej, aby się nie czuła jak na bezludnej wyspie, czy pan tam zna kogo?

Pojedynek, Wzrok, Słowo

— Tam, jak wszędzie, znam wszystkich i nie znam nikogo — odparł Legrandin który nie poddawał się tak szybko — wiele rzeczy i bardzo mało osób. Ale i same rzeczy wydają się tam niby osoby; osoby rzadkiej i delikatnej esencji, zawiedzione przez życie. Czasami jakiś zameczek na stromej skale nad drogą, gdzie się zatrzymał, aby zmieszać swój blady smutek z różowym jeszcze wieczorem, kiedy wschodzi złoty księżyc, a łodzie, które wracają prując pstrą wodę, wznoszą na swoje maszty płomień i stroją się w barwy; czasem zwykły samotny dom, raczej brzydki, z obliczem nieśmiałym, ale romantycznym, który skrywa wszystkim oczom jakąś niezniszczalną tajemnicę szczęścia i melancholii. Ta kraina nierealna — dodał z machiaweliczną subtelnością — ta kraina czystego urojenia, to zła lektura dla dziecka i z pewnością nie ja wybrałbym ją i zalecił memu młodemu przyjacielowi, już tak skłonnemu do smutku, o przewrażliwionym sercu. Klimaty zwierzeń miłosnych i daremnych żalów mogą odpowiadać staremu sceptykowi jak ja, ale zawsze są niezdrowe młodzieży w momencie dojrzewania. Wiercie mi — dodał z naciskiem — wody tej zatoki, na wpół już bretońskiej, mogą mieć działanie kojące (niesprawdzone zresztą) na serce, które już nie jest nietknięte, jak moje; na serce, którego wada już nie da się wyrównać. W twoim wieku, pachole, nie są wskazane. Dobranoc, sąsiedzi — dodał, żegnając nas z ową wymykającą się nagłością, która mu była właściwa. I, obracając się ku nam z wzniesionym po doktorsku palcem, streścił swoją konsultację: — Nie radzę Balbec przed pięćdziesiątym rokiem, a i to zależy od stanu serca! — krzyknął.

Ojciec zagadywał go jeszcze nieraz później, dręczył go pytaniami; daremne wysiłki! Jak ów uczony oszust, co na sporządzanie fałszywych palimpsestów zużył trud i wiedzę, których setna część byłaby starczyła na to, aby mu zapewnić sytuację zyskowniejszą, ale uczciwą, pan Legrandin, gdybyśmy nastawali jeszcze, byłby w końcu stworzył całą etykę krajobrazu i geografii niebieską dolnej Normandii raczej, niżby przyznał, że o dwa kilometry od Balbec mieszka jego rodzona siostra i niżby się nam ofiarował z listem polecającym. List ten nie byłby tak bardzo przerażał pana Legrandin, gdyby miał absolutną pewność — jaką mógł być mieć w istocie, znając charakter mojej babki — że z niego nie skorzystamy.

Wracaliśmy zawsze wcześniej ze spaceru, aby móc przed obiadem wstąpić do cioci Leonii. Z początkiem sezonu, kiedy dzień kończy się rychło, skorośmy przybywali na ulicę Św. Ducha, widać było jeszcze odbłask zachodu na szybach i wstążkę purpury wzdłuż lasów Kalwarii, odbijającą się dalej w stawie. Czerwień ta, kojarząca się często z dość żywym chłodem, łączyła się w moim umyśle z czerwonością ognia, na którym piekło się kurczę, wróżące mi — po poetycznej przyjemności przechadzki — rozkosz łakomstwa, ciepła i spoczynku. W lecie natomiast, kiedyśmy wracali, słońce nie zachodziło jeszcze; podczas wizyty u cioci Leonii światło jego zniżało się i dotykało okna, więzło między portierami a firanką — rozszczępione, rozgałęzione, przefiltrowane — inkrustując kawałkami złota cytrynowe drzewo komody, sącząc się z ukosa na pokój, delikatne niby w zaroślach leśnych. Ale w pewne bardzo rzadkie dni za naszym powrotem od dawna już komoda straciła swoje przelotne inkrustacje; kiedyśmy wchodzili w ulicę św. Ducha, nie widać już było na szybach nic z blasków zachodu; staw u stóp Kalwarii postradał swoją czerwień, bywał już opalowy, przesywał go na wskroś długi promień księżyca, który rozszerzał się i drgał wszystkimi zmarszczkami wody. Wówczas, zbliżając się do domu, spostrzegaliśmy jakąś postać w progu, a mama mówiła:

— Mój Boże, to Franciszka czatuje na nas, ciocia jest niespokojna; bo też wracamy bardzo późno!

I nie tracąc czasu na rozbieranie się, szliśmy szybko do cioci Leonii, aby ją uspokoić i dowieść jej, że wbrew temu, co już sobie roiała, nie stało się nam nic: poszliśmy tylko „w stronę Guermentes”. Ano, kiedy się pójdzie w tamtą stronę, ciocia wie przecie, że nigdy nie można być pewnym, o której się wróci.

— Widzisz, Franciszko — powiadała ciocia — a ja ci mówiłam, że oni poszli w stronę Guermentes. Mój Boże! ależ muszą być głodni! a baranina całkiem musiała wyschnąć od tego czekania. No bo jakże to można wracać o takiej porze! Jak to, naprawdę poszłiście w stronę Guermentes?

— Myślałam, żeś ty wiedziała o tym, Leonio — mówiła mama. — Sądziłam, że Franciszka widziała nas jakśmy wychodzili furtką.

Bo dokoła Combray były dwie „strony” przechadzek i tak przeciwne, że zależnie od tego, w którą się miało iść, wychodziło się z domu inną bramą. Jedna to była strona Méséglise-la-Vineuse, którą nazywało się także „stroną Swanna”, bo idąc tam, przechodziło się koło posiadłości pana Swanna; druga — „strona Guermantes”. Z Méséglise-la-Vineuse poznałem co prawda tylko „stronę” i obcych ludzi, którzy zjawiali się w niedzielę, aby spacerować po Combray. Tych nawet ciocia i my wszyscy „nie znaliśmy” i na tej zasadzie określało się ich jako „ludzi z Méséglise”.

Co się tyczy Guermantes, miałem kiedyś poznać je bliżej, ale aż znacznie później. Przez całą moją młodość, o ile Méséglise było dla mnie czymś tak niedostępnym jak widnokrąg, czymś umykającym się oku choćby się jak najdalej szło falistym terenem niepodobnym już do okolic Combray, Guermantes było dla mnie nazwą raczej idealną niż realną, określeniem „strony”, rodzajem terminu geograficznego, abstrakcyjnego jak linia równika, jak biegun, jak Wschód. Iść w stronę Guermantes, aby zejść do Méséglise, lub przeciwnie, wydałoby mi się wówczas wyrażeniem równie pozbawionym sensu jak wziąć się na wschód, aby iść na zachód. Ponieważ ojciec mówił zawsze o stronie Méséglise jak o najpiękniejszej równinie, jaką znał, a o stronie Guermantes jako o typie krajobrazu nadrzecznego, dawałem im — pojmując je w ten sposób jako dwie całości — ową spójność, ową jedność, które są, ściśle biorąc, jedynie tworem naszej myśli. Najmniejsza cząstka obu tych całości wydawała mi się szacowna i wyrażała ich osobliwą doskonałość; wobec nich, nim się przybyło na ich świętą ziemię, czysto materialne drogi, pośród których znajdował się ów ideał równiny, ideał nadrzecznego pejzażu, nie były warte trudu spojrzenia, tak jak dla miłośnika sztuki dramatycznej nie są go warte uliczki sąsiadujące z teatrem. Ale o wiele większą rolę niż odległości kilometrowe grała dla mnie odległość istniejąca między dwiema partiami mózgu, w których myślałem o Méséglise i o Guermantes, coś, co nie tylko oddala dwie rzeczy, ale je dzieli i mieści je na różnym planie. I ta linia demarkacyjna stawała się tym wyraźniejsza, ponieważ zwyczaj nasz, aby nigdy nie chodzić w dwie strony jednego dnia, ale zawsze raz w stronę Méséglise, inny raz w stronę Guermantes, zamykał je, aby tak rzec, daleko od siebie, niepoznawalne dla siebie wzajem, w szczelnych i pozbawionych komunikacji z sobą naczyniach dwóch różnych popołudni.

Kiedy się chciało iść w stronę Méséglise, wychodziło się (nie za wcześnie i nawet kiedy było pochmurno, bo przechadzka była niedługa i niezbyt daleka) tak, jakby się szło byle gdzie — wielką bramą od ulicy Św. Ducha. Odklánialiśmy się rusznikarzowi, wrzucaliśmy listy do skrzynki, mówiliśmy po drodze w imieniu Franciszki Teodorowi, że nie ma już oliwy lub kawy, i wychodziliśmy z miasta drogą biegnącą wzdłuż białych sztachet parku pana Swanna. Zanim jeszcześmy tam doszli, spotykał nas zapach tamtejszych bzów wybiegający naprzeciw obcych. One same, spośród zielonych i świeżych serduszek swoich liści wznosiły ciekawie ponad sztachety pióropusze białe lub lila, lśniące — nawet w cieniu — połyskiem słońca, w którym były skąpane. Niektóre, na wpół zasłonięte domkiem odzwiernego murowanym z cegły, sterczały ponad gotycki daszek swoim różowym minaretem. Wiosenne nimfy wydałyby się pospolite przy tych młodych hurysach, które w owym francuskim ogrodzie zachowały żywe i czyste tony perskich miniatur. Wbrew mojej żądzy objęcia ich giętkiej kibici i przyciągnięcia do siebie gwiaździstych puklów ich pachnących głów, przechodziliśmy, nie zatrzymując się. Rodzice nie bywali w Tansonville od czasu małżeństwa Swanna; aby się więc nie wydawało, że zaglądamy do parku, zamiast iść drogą biegnącą wzdłuż sztachet i wiodącą prosto w pole, obieraliśmy inną, prowadzącą również w pole, ale okrężnie. Jednego dnia dziadek rzekł do ojca:

— Pamiętasz, Swann mówił wczoraj, że ponieważ żona jego i córka jadą do Reims, skorzysta z tego, aby wypaść na dzień do Paryża. Skoro nikogo nie ma, moglibyśmy iść koło parku, to by nam skróciło drogę.

Zatrzymaliśmy się chwilę koło sztachet. Czas bzów miał się ku końcowi; niektóre tryskały jeszcze w wysokich fioletowych świecznikach delikatnymi pękami kwiatów, ale w wielu partiach, gdzie niespełna przed tygodniem rozbryzgiwała się jeszcze ich wonna piana, obecnie piana ta skurczona i czerniała, wędła pusta, sucha i bez zapachu. Dziadek pokazywał ojcu zmiany zaszłe w okolicy od czasu owej sławnej przechadzki ze starym Swannem w dniu śmierci jego żony i skorzystał ze sposobności, aby opowiedzieć to zdarzenie jeszcze raz.

Na wprost nas obsadzona nasturcjami aleja wspiwała się pod górę, w pełnym słońcu, do pałacyku. Na prawo znowuż park rozciągał się płasko. Sadzawkę, spowitą cieniem wielkich drzew, wykopali rodzice Swanna; ale nawet w swoich najsztuczniejszych tworach, zawsze człowiek pracuje na podłożu natury; niektóre miejsca zawsze narzucają otoczeniu swoją władzę, przybierają swoje odwieczne godła zarówno w parku, jak gdzieś z dala od wszelkiej ludzkiej interwencji: samotność otacza je wszędzie, wylania się z ich charakteru, góruje nad dziełem ludzi. I tak u stóp alei biegnącej ponad sztucznym stawem utworzył się z dwóch rzędów niezapominajek i barwinku jakby naturalny, wiotki i błękitny wieniec okalający czoło wód, a gladiolusy, dając z królewską obojętnością giąć się swoim mieczom, rozpościerały na kaczęcych i jaskrach fioletowe i żółte postrzępione lilie swego nawodnego berła.

Wyjazd panny Swann, odejmując mi straszliwą szansę, że mogłaby się zjawić przede mną w alei, że uprzywilejowana dziewczynka będąca w przyjaźni z Bergottem i oglądająca z nim katedry mogłaby mnie poznać i wzgardzić mną, czynił mnie obojętnym na Tansonville za pierwszym razem, kiedy mi było dozwolone je oglądać. Przeciwnie, w oczach dziadka i ojca fakt ów dawał tej posiadłości chwilowy urok wygody i bez troski; niby czyste niebo podczas górskiej wycieczki, stwarzał on owego dnia warunki wyjątkowo pomyślne dla przechadzki w tę stronę. Byłbym rad, aby ich rachuby zawiodły; aby cud jakiś ukazał nam pannę Swann z ojcem tak blisko, żebyśmy nie mieli czasu ich uniknąć i musieli się z nią zapoznać. Toteż kiedy nagle spostrzegłem na trawie, jako znak jej możliwej obecności, porzucony koszyk obok wędki, której korek pływał po wodzie, czym prędzej postarałem się odwrócić wzrok ojca i dziadka w inną stronę. Zresztą Swann wspominał, że to nieładnie z jego strony opuszczać dom, bo ma u siebie w tej chwili rodzinę; wędka mogła więc należeć do jakiegoś gościa. Nie było słychać żadnych kroków w alei. Gdzieś w połowie niewiadomego drzewa niewidzialny ptak, siląc się skrócić dzień, zgłębiał przeciągłą nutą otaczającą samotność; ale otrzymywał od niej odpowiedź tak jednomyślną, odzew tak nabrzmiały ciszą i bezruchem, iż można by rzec, że zatrzymał na zawsze chwilę, której bieg chciał przyspieszyć. Światło padało ze stężałego nieba tak nieubłagane, że byłbym rad umknąć się jego baczności; nawet drzemiąca woda, której sen ustawicznie drażniły owady, śniąc z pewnością o jakimś urojonym Maelstromie, zwiększała zamęt, w jaki mnie wtrącił widok pływającego korka, i zdawała się ciągnąć go z całą chyżością po milczących przestrzeniach przegładającego się w niej nieba. Prostopadły prawie korek gotów był dać nurka i już, już pytałem siebie, czy, pomijając moją chęć i obawę poznania panny Swann, nie powinienem był uprzedzić jej, że ryba chwytą. Ale trzeba mi było pędem dogonić ojca i dziadka; wołali mnie zdziwieni, że nie podążyłem za nimi ścieżką wiodącą w pole.

Ścieżka brzęczała zapachem głógów. Żywopłot tworzył szereg kapliczek, które znikaly pod pękami kwiatów narzuconych niby na ołtarze; u stóp tych krzewów słońce kładło się na ziemi jasną kratą, jak gdyby przeszło przez okno kościelne. Uroczysty zapach głógów dawał mi wrażenie, iż znajduję się przed ołtarzem Matki Boskiej; wystrojone kwiaty z rozrągnioną minką trzymały lśniące bukiety pręcików, delikatnych i promiennych strzałek płomienistego stylu, podobnych tym, które w kościele ażurują poręcz empory lub filarki witrażu, a które tu rozkwitały białym mięszkiem kwiatu poziomki. Jakże naiwne i chłopskie wydawały się w porównaniu z nimi dzikie róże, które za kilka tygodni miały także w pełnym słońcu wstępować tą samą wiejską drogą, w gładkim jedwabiu swoich różowych staników, rozchylanych wiatrem.

Ale daremnie stałem przed krzakami głógów, wdychając je, ogarniając ich niewidzialny i stały zapach myślą, która nie wiedziała, co z nim począć; gubiąc go i odnajdując, kojarząc się z rytmem, który rozrzucał ich kwiaty z młodzieńczą radością i w nieoczekiwanych odstępach niby interwały muzyczne. Dawały mi one bez końca, niewyczerpane, wciąż tę samą rozkosz, nie pozwalając mi jej zgłębić, niby owe melodie, które przegrywa się sto razy z rzędu, nie mogąc przeniknąć ich tajemnicy. Odwróciłem się na chwilę, aby znów do nich przystąpić ze świeżymi siłami. Ściagałem aż do skarpy, która za żywopłotem wspiwała się bystro w pole, jakiś zabłąkany mak, jakieś leniwe chabry pozostałe w tyle, kwieciami swoim strojące tu i ówdzie zbocze niby szlak, gdzie skąpo jawi się sielski motyw, dominujący na samej tkaninie. Kwiaty te, rzadkie jeszcze, rozsypały niby poje-



dyncze domki oznajmiające bliskość wsi, zwiastowały mi ogromną przestrzeń, gdzie kipi zboże, gdzie kłębią się chmury; jeden jedyny mak — czerwony płomień na szczycie liny, igrający na wietrze ponad swoim zatłuszczonym i czarnym pływakiem — przypawił mi o bicie serca: byłem niby podróżnik, gdy spostrzeże wyciągniętą na ziemię pierwszą łódź naprawianą przez uszczelniacza, i który, zanim jeszcze ujrzał wodę, woła: „Morze!”.

Następnie wracałem do głógów, tak jak się wraca do arcydzieł, z myślą, że będę je lepiej widział, kiedy na chwilę przestanę na nie patrzeć. Ale daremnie czyniłem zasłonę z rąk, aby mieć przed oczami tylko owe głogi; uczucie, jakie budziły we mnie, było mgliste i mętne, na próżno starało się wyzwolić, zrosnąć z tymi kwiatami. Nie pomagały mi one go rozjaśnić, a nie mogłem zaspokojenia jego żądać od innych kwiatów. Wówczas, sprawiając mi ową radość, jakiej doznajemy, kiedy ujrzemy dzieło ulubionego malarza, różne od dotychczas oglądanych lub kiedy nas ktoś zaprowadzi przed obraz znany nam dotąd tylko ze szkicu ołówkiem, lub kiedy utwór słyszany tylko na fortepianie objawi się nam strojny w barwy orkiestry, dziadek zawołał mnie i pokazując żywoplot w Tansonville, rzekł: „Ty lubisz głogi, popatrz na ten różowy: jakiż on śliczny!”. W istocie był to głóg, ale różowy, piękniejszy jeszcze od białych. On też wystrojony był jak na święto — jedno z owych jedyńskich prawdziwych świąt, jakimi są święta religijne, ile że żaden przypadkowy kaprys nie wiąże ich, jak uroczystości świeckich, z dniem nieprzeznaczonym specjalnie dla nich, niemającym nic istotnie świątecznego — ale wystrojony był bogaciej jeszcze, bo kwiaty oblepiające gałęzie tak gęsto, że nie było ani jednego miejsca niepokrytego nimi, były niby pompony okalające laseczkę *rococo*, „kolorowe”, tym samym wartościowsze. Taka przynajmniej była estetyka Combray, jeżeli o tym sądzić z cen w magazynie na rynku albo u Camusa, gdzie różowe pianki były droższe. Ja sam bardziej ceniałem śmietankowy ser różowy, ten, w który wolno mi było wgnieść poziomki. I właśnie te kwiaty przybrały jakiś odcień czegoś jadalnego lub delikatnych barw toalety na wielkie święto; rzeczy, które przez to, że legitymują w oczach dzieci racje swojej wyższości, są dla nich oczywiście ładne, mają zawsze dla nich coś żywszego i naturalniejszego niż inne barwy, nawet kiedy dziecko zrozumie, że nic nie wróżą jego łakomstwu lub że nie były wybrane przez szwaczkę. Odczułem tu natychmiast — jak wobec białych głógów, ale z większym zachwytem — że owa odświeżność kwiatów nie jest sztuczna, nie jest ludzkim przemyśleniem, ale że to natura wyraziła ją samorzutnie ze szczerością wiejskiej robotnicy pracującej dla ołtarza, przeładowując krzew owymi różyczkami o tonie zbyt słodkim, zbyt prowincjonalno-pompadour.

U szczytu gałęzi — niby róże w doniczkach okrytych koronkowym papierem, których wątle race zapalają się na ołtarzu w wielkie święta — roilo się mnóstwo pączków o bledszym odcieniu; rozchylając się, ukazywały, niby na dnie pucharu z różowego marmuru, krwawą czerwień i zdradzały bardziej jeszcze niż kwiaty swoistą, nieodpartą esencję tego głogu, który gdziekolwiek pączkował, gdziekolwiek miał zakwitnąć, nie mógł tego uczynić inaczej niż różowo. Wpleciony w żywoplot, ale równie od niego odmienny jak młoda odświeżnie ubrana dziewczyna pośród osób w zwykłym odzieniu, mających zostać w domu, całkowicie gotowy do majowego nabożeństwa, którego już zdawał się stanowić cząstkę, błyszczał ten krzew katolicki i uroczy, uśmiechając się w swojej świeżej różowej sukni.

Poprzez żywoplot widać było w parku aleję obsadzoną jaśminami, bratkami i werwną; lewkonie otwierały swoje świeże torebki o różowym kolorze pachnącym i zblakłym jak stara skóra kordowańska; podczas gdy na ścieżce zielono pomalowany długi wąż do polewania rozaczał swoje skręty, wznosząc w pewnych odstępach pryzmatyczne wachlarze kropelek nad kwiatami, których zapachy nawadniał. Naraz zatrzymałem się niezdolny się poruszyć, tak jak bywa, kiedy wizja jakaś uderzy nie tylko nasze spojrzenia, ale zagarnie całe nasze czucie, całą istotę. Dziewczynka o włosach rudoblonde, widocznie wracająca z przechadzki i trzymająca w ręce łopatkę, patrzyła na nas, wznosząc twarz usianą różowymi plamkami. Czarne jej oczy błyszczały; że zaś nie umiałem wówczas i nie nauczyłem się później sprowadzać silnego wrażenia do jego rzeczowych składników, że nie miałem, jak się to mówi, dość „zmysłu obserwacyjnego”, aby sobie uświadomić barwę jej oczu, przez długi czas, za każdym razem, kiedy o niej myślałem, blask tych oczu budził we mnie równocześnie wrażenie lazuru naturalnego dla blondynki; tak iż, gdyby nie miała oczu

równie czarnych — co uderzało tak bardzo za pierwszym jej widokiem — nie byłbym się może, jak się to stało, zakochał osobliwie w jej oczach niebieskich.

Patrzałem na nią najpierw owym spojrzeniem, które jest nie tylko wysłannikiem oczu, ale z którego okna wychylają się wszystkie zmysły, strwożone i skamieniałe; spojrzeniem żadnym dotknąć, nakryć, zagarnąć ciało, na które się patrzy, i duszę wraz z nim. Zarazem tak się bałem, że lada chwila dziadek i ojciec, spostrzegłszy tę dziewczynkę, każą mi się oddalić i pobiec naprzód, iż zmierzylem ją drugim spojrzeniem nieświadomie błagalnym, siłą się zmusić ją, żeby na mnie zwróciła uwagę, żeby mnie poznała. Potoczyła wzrokiem, aby nim oszacować mego dziadka i ojca; konkluzją była zapewne myśl, że jesteśmy śmieszni, bo odwróciła się obojętnie i wzdorliwie i przystanęła z boku, aby usunąć swoją twarz z ich pola widzenia; kiedy zaś oni, idąc dalej i nie widząc jej, wypredzili mnie, wysłała w moją stronę długie spojrzenie niezdradzające niczym, że mnie dostrzega, ale uporczywie i podkreślone uśmiechkiem, którego wedle pojęć, jakie mi wszczepiono o dobrym wychowaniu, nie mogłem sobie wytłumaczyć inaczej niż jako dowód bezgranicznej wzdorczywości. Równocześnie ręka jej naszkicowała nieprzystojny gest, któremu, kiedy się zwraca publicznie do nieznanym osobie, mój podręczny słowniczek grzeczności mógł dać tylko jedno znaczenie — obraźliwe.

— Gilberto, chodź, co ty tam robisz! — krzyknął ostry i rozkazujący głos biało ubranej damy, której zrazu nie dostrzegłem; w pewnej zaś odległości od niej nieznan mi pan we flanelowym ubraniu wlepił we mnie natarczywie oczy. Przestając się nagle uśmiechać, dziewczynka wzięła łopatkę i odeszła, nie odwracając się w moją stronę, z miną posłuszną, niezbadaną i chmurną.

Tak przesunęło się koło mnie owo imię Gilberty, niby talizman pozwalający mi może odnaleźć kiedyś tę, z której uczyniło żywą osobę, a która chwilę przedtem była jedynie niejasnym obrazem. Tak przesunęło się rzucone ponad jaśminy i lewkonie, cierpkie i świeże jak krople tryskające z zielonego węża; nasycając, iryzując strefę czystego powietrza tajemnicą życia tej, którą oznaczało dla istot szczęśliwych, żyjących i podróżujących z Gilbertą; roztaczając pod różowym głogiem, na wysokości mego ramienia, tak bolesną dla mnie kwintesencję ich poufności z nią, z obcością jej życia, do którego ja nie mogłem mieć wstępu.

Podczas gdyśmy się oddalali, dziadek szeptał: „Biedny Swann, na jaką rolę oni go skazują! Wyprawiają go po to, aby ona została sama ze swoim Charlusem, bo to on, poznałem go! I ta mała, wmieszana we wszystkie te brudy”. A ja słyszałem tylko despotyczny głos, jakim matka przemówiła do Gilberty bez możliwości repliki z jej strony; przez chwilę widziałem w Gilbertce istotę zmuszoną słuchać kogoś, niebędącą ponad wszystkim. Świadomość ta ukoiliła nieco moje cierpienie, wróciła mi cień nadziei i zmniejszyła moją miłość. Ale bardzo szybko miłość ta wybuchła we mnie na nowo jako reakcja, w której moje upokorzone serce pragnęło zrównać się z Gilbertą lub ściągnąć ją do siebie. Kochałem ją, żałowałem, że nie miał czasu i konceptu na to, aby ją obrazić, aby jej zadać ból, zmusić ją do pamiętania o mnie. Wydała mi się tak piękna, że byłbym chciał wrócić do niej, aby krzyknąć wzruszając ramionami: „Jakaś ty brzydka, śmieszna, jaka odpychająca!”. Tymczasem oddalałem się, unosząc na zawsze jako pierwszy typ szczęścia niedostępnego — mocą naturalnych i nieubłaganych praw — dzieciom mego gatunku, obraz rudej dziewczynki z różowymi plamkami, która trzyma łopatkę i śmieje się, rzucając na mnie długie spojrzenia, obojętne i skryte. Odtąd czar, którym jej imię, usłyszane wspólnie przez nas oboje, napoiło miejsce pod różowymi głogami, miał objąć, powlec, nasycić wszystko, co było jej bliskie; jej dziadków, których moi dziadkowie mieli niewysłowione szczęście znać, wzniosły zawód agenta giełdowego, bolesną dzielnicę Pół Elizejskich, gdzie Gilberta mieszkała w Paryżu.

— Leonio — rzekł za powrotem dziadek — żałowałem, żeś nie była z nami. Nie poznałabyś Tansonville. Gdybym śmiał, byłbym ci uciął gałąź różowego głogu, który tak lubiłaś.

Zazwyczaj dziadek opowiadał tak naszą przechadzkę cioci Leonii, czy to dla rozerwania jej, czy że nie stracił jeszcze nadziei wyciągnięcia jej z domu. Ciocia bardzo lubiła niegdyś tę posiadłość; poza tym Swann był ostatnim gościem, którego zносиła, wówczas gdy już zamknęła drzwi wszystkim innym. Kiedy się dowiadywał o jej zdrowie (była je-

dyną osobą w naszym domu, którą starał się jeszcze widywać), kazała mu odpowiadać, że jest zmęczona, ale że go przyjmie następnym razem. Podobnie i tego wieczora rzekła: „Owszem, któregoś dnia, kiedy będzie ładnie, wybiorę się powozem aż do bramy parkowej”. Mówiła szczerze. Byłaby chętnie ujrzała Swanna i Tansonville, ale chęć wystarczała resztkę jej sił; urzeczywistnienie przekraczałyby je. Czasami z piękną pogodą wracało ciotki Leonii nieco energii; wstawiała, ubierała się; ale zmęczenie ogarniało ją, nim przeszła do drugiego pokoju; — kładła się z powrotem do łóżka. Zaczęła się dla niej — wcześniej tylko niż się to dzieje zazwyczaj — owa wielka rezygnacja starości, która się gotuje na śmierć, spowijając się w swoją larwę. Można obserwować ten stan z końcem zbyt prze-wlekających się egzystencji, nawet między dawnymi i najczulszymi kochankami, między przyjaciółmi związanymi najbardziej duchową więzią; począwszy od pewnego roku, przestają podejmować trud widywania się, przestają do siebie pisywać i wiedzą, że już się nie spotkają na tym świecie. Ciotka Leonia musiała doskonale wiedzieć, że już nie ujrzy Swanna, że już nigdy nie opuści domu, ale to ostateczne odcięcie musiało jej być dosyć łatwe przez tę właśnie rację, która wedle nas powinna była uczynić je tym boleśniejszym; mianowicie tę, że było skutkiem upadku sił. Zanik ten, który mogła stwierdzać co dzień, łączył z każdą czynnością, z każdym ruchem zmęczenie, o ile nie cierpienie, używając bezruchowi, samotności, ciszy kojącej i błogosławionej słodczy spoczynku.

Ciotka Leonia nie wybrała się ujrzeć żywopłotu różowych głogów, ale ja co chwila pytałem rodziców, czy się nie wybierze, czy dawniej bywała często w Tansonville: wciąż starałem się ściągnąć rozmowę na rodziców i dziadków panny Swann, którzy mi się zdawali wielcy jak bogowie. To nazwisko Swann stało się dla mnie niemal mitologiczne; kiedym rozmawiał z rodzicami, łaknąłem usłyszeć je z ich ust, nie śmiałem go wyrzec sam, ale sprowadzałem rozmowę na przedmioty bliskie Gilberty i jej rodziny, mające z nią związek. Wówczas czułem się mniej wygnany, czułem się nie tak daleko od niej. Udawałem na przykład, iż myślę, że urząd dziadka był już dawniej w posiadaniu naszej rodziny albo że żywopłot różowych głogów, który pragnęła ujrzeć ciotka Leonia, znajduje się na gruncie gminnym, zmuszając ojca, aby prostował moje twierdzenia, aby mówił, jakby niezależnie ode mnie, jakby sam z siebie: „Ale nie, ten urząd miał ojciec *Swanna*, ten żywopłot należy do parku *Swanna*”. Wówczas musiałem głęboko odetchnąć, tak bardzo to nazwisko, kładąc się w miejscu, w którym zawsze było dla mnie zapisane, gniotło mnie aż do uczucia duszności. W chwili gdy je słyszałem, zdawało mi się ono pełniejsze niż każde inne, dlatego że już zawczasu powtórzyłem je wielokrotnie w duszy. Sprawiało mi ono przyjemność skojarzoną ze wstydem, iż śmiem wyludzać tę przyjemność od rodziców; była bowiem tak wielka, że musiała — w moim poczuciu — kosztować ich wiele trudu i to bez kompensaty, skoro dla nich nie była przyjemnością. Toteż przez delikatność odwracałem rozmowę. I przez skrupuł. Z chwilą gdy wymawiali słowo *Swann*, odnajdywałem wszystkie osobliwe uroki, jakie wkładałem w to nazwisko. I wówczas nagle miałem wrażenie, że rodzice nie mogą tego nie odczuwać, że wchodzą w moje stany duszy, że spostrzegają, rozgrzeszają, podziwiają moje marzenia, i byłem nieszczęśliwy, tak jakbym ich zwyciężył i znieprawiał.

Tego roku rodzice ustalili dzień powrotu do Paryża nieco wcześniej niż zazwyczaj. Rano przed wyjazdem, kiedy mnie ufrizowano do fotografii, włożywszy mi ostrożnie nowy kapelusz i aksamitny watowany płaszczyk, długo szukano mnie wszędzie. Wreszcie matka znalazła mnie we łzach na ścieżce tuż koło Tansonville: żegnałem się z głogami, obejmując kłujące gałęzie. Niby księżniczka z tragedii, której „ciężą czcze ozdoby”, niewdzięczny wobec natrętnej ręki, która tak pieczołowicie ułożyła pukle na moim czole, deptałem zerwane papiloty i nowy kapelusz. Łzy moje nie wzruszyły matki, ale nie mogła wstrzymać krzyku na widok zniweczonej fryzury i straconego płaszczyka. Nie słyszałem jej: „O moje biedne głogi, mówiłem płacząc; wy byście pewnie nie chciały sprawić mi zgrzyoty ani zmuszać mnie do odjazdu. Wyście mi nigdy nie zrobiły przykrości. Toteż będę was kochał zawsze”. I ocierając łzy, przyrzekałem im, kiedy będę duży, nie naśladować szalonego życia innych ludzi i nawet w Paryżu, w wiosenne dni, zamiast chodzić z wizytami i słuchać głupestw, jechać na wieś oglądać pierwsze głogi.

Raz znalazłszy się w polach, nie opuszczaliśmy ich już przez cały czas przechadzki w stronę Méséglise. Bez ustanku przebiegał je, niby niewidzialny włóczęga, wiatr, który był dla mnie prawdziwym duchem Combray. Co rok, w dniu naszego przyjazdu, aby czuć,

że jestem naprawdę w Combray, szedłem odnaleźć go, czuć, jak mi dmie w płaszcz, każąc mi biec za sobą. Zawsze miało się wiatr obok siebie, idąc w stronę Méséglise po owej wydmy, gdzie całe mile nie spotyka się żadnej nierówności terenu.

Wiedziałem, że panna Swann jeździ często na parę dni do Laon. Mimo że to było o kilka mil, wszelki brak przeszkody wyrównywał odległość; toteż kiedy w ciepłe popołudnie widziałem, jak ten sam oddech wionący z krańców widnokregu pochyla najodleglejsze zboża, jak się rozpościera na kształt fali na ogromnej przestrzeni; jak, szumiący i ciepły, układa się u moich stóp wśród seradeli i koniczyny, wówczas równina ta, będąca wspólną naszą własnością, zdawała się zbliżać nas, łączyć. Myślałem wówczas, że ten wiew przeleciał koło niej, że to, co mi wiatr szepce, to jest jakieś zlecenie od niej — mimo że niezrozumiałe — i całowałem go w przelocie.

Po lewej była wioska, która się zwała Champieu (Campus Pagani wedle proboszcza). Po prawej widniały za zbożami dwie sielskie wieżyczki Saint-André-des-Champs, wystrzępione, luszczaste, porowate, rzeźbione, poźółkłe i chropawe niby dwa kłosa.

W symetrycznych odstępach, pośród niezrównanego ornamentu liści, których nie można pomylić z liściem żadnego innego drzewa owocowego, jabłonie rozpościerały szerokie płaty białego atlasu lub zwieszały nieśmiało bukiety rumieniących się pączków. W stronie Méséglise pierwszy raz zauważyłem okrągły cień, który jabłonie kładą na wysłonecznionej ziemi, a także owe jedwabie z nieuchwytnego złota, które zachód tka skóśnie pod liśćmi, które w moich oczach ojciec przerywał laską, nic mogąc zmienić ich kierunku.

Czasami przez popołudniowe niebo przechodził księżyc biały jak chmura, dyskretny, bez blasku, niby aktorka, która nie gra w tej chwili i która w zwykłej sukni patrzy z łoża przez chwilę na swoich kolegów, chowając się w cień, nie chcąc zwracać na siebie uwagi. Lubilem odnajdywać jego wizerunek na obrazach i w książkach, ale — przynajmniej w pierwszych latach, zanim Bloch przyzwyczaił moje oczy i myśl do subtelniejszych harmonii — owe dzieła sztuki były bardzo różne od tych, w których księżyc wydałby mi się piękny dziś, a w których nie byłbym go poznał wówczas. Była to na przykład jakaś powieść Saintine, jakiś pejzaż Gleyre'a, gdzie księżyc rysuje wyraźnie na niebie srebrny sierp, owe produkty — jak moje własne ówczesne wrażenia — naiwne i banalne. Gust mój ówczesny gorszył siostry mojej babki. Były przekonane, że dzieciom trzeba dawać zawczasu te dzieła sztuki, które, doszedłszy do wieku rozeznania, człowiek ma podziwiać ostatecznie, i że dowodem smaku jest poznać się na nich od razu. Widocznie wyobrażały sobie, że zalety estetyczne są jak przedmioty materialne, które otwarte oko musi spoznać, nie potrzebując wyhodować powoli we własnym sercu ich odpowiedników.

Od strony Méséglise, w Montjouvain, w domu położonym nad wielkim bajorem i przylegającym do porosłego krzakami pagórka mieszkał pan Vinteuil. Często też spotykało się na drodze jego córkę, ostro jadącą kabrioletem. Od jakiegoś czasu nie zjawiała się już sama, ale ze starszą od siebie przyjaciółką, która miała złą reputację w okolicy i która pewnego dnia osiadła na stałe w Montjouvain. Powiadano: „Musi ten Vinteuil być bardzo zaślepiiony w córce, skoro nie chce widzieć tego, co ludzie gadają, i skoro on, taki wrażliwy na każde słowo *nie na miejscu*, pozwala córce żyć pod jego własnym dachem z podobną kobietą. Powiada, że to niepospolita osoba, wielkie serce i że miałaby nadzwyczajny dar do muzyki, gdyby się kształciła. Może być pewien, że nie muzyką zajmuje się ta pannica z jego córką”. Pan Vinteuil mówił tak; i w istocie godne uwagi jest, ile dana osoba zawsze budzi podziwu dla swoich moralnych wartości u rodziców innej osoby, z którą pozostaje w stosunkach cielesnych. Miłość fizyczna, niesłusznie osławiona, tak dalece każe wszelkiej istocie ujawnić całą pełnię jej dobroci i oddania, że błyszczą one nawet dla oczu najbliższego otoczenia. Doktor Percepied, który dzięki grubemu głosowi i grubym brwiom mógł bezpiecznie odgrywać rolę intryganta (na którego nie wyglądał), nie narażając niczym swojej niewzruszonej i niezasłużonej reputacji „zaczego burczymuchy”, umiał rozśmieszać do łez proboszcza i całe towarzystwo, gdy mówił rubasznie:

— No i cóż! Zdaje się, że panna Vinteuil uprawia muzykę ze swoją przyjaciółką. Widzę, że to państwa dziwi. Ja tam nie wiem. Stary Vinteuil powiadał mi to jeszcze wczoraj. Ostatecznie ta dziewczyna ma prawo lubić muzykę. Ja się nie mogę sprzeciwić artystycznemu powołaniu dzieci, Vinteuil widać także nie. A przy tym i on sam muzykuje z przyjaciółką córki. A, do licha! Tęgo muzykują w tej budzie. No czego się państwo

śmiejecie? Że ci ludzie trochę za dużo muzykują? Kiedyś spotkałem papę Vinteuil koło cmentarza. Ledwo się trzymał na nogach.

Tym, którzy jak my patrzyli w owej epoce na pana Vinteuil, jak unika znajomych, jak się odwraca, kiedy ich spotka, postarzały w ciągu kilku miesięcy, zagrzebany w swojej zgryzocie, niezdolny do żadnego wysiłku niemającego wprost na celu szczęścia córki; jak spędza całe dnie na grobie żony, — trudno byłoby nie pojąć, że on umiera ze zgryzoty, lub przypuszczać, że sobie nie zdaje sprawy z krążących gadań. Znał je, może nawet dawał im wiarę. Nie ma może istoty, bodaj najświętszej, której splot okoliczności nie mógłby doprowadzić do zżycia się z występkiem. Może go potępiać najbardziej stanowczo, — nie poznając go zresztą całkowicie w kostiumie poszczególnych faktów, jaki przybiera, aby się jej narzucić i zadać jej ból: dziwaczne słowa, niewytłumaczone zachowanie się któregoś wieczora u kogoś, kogo skądinąd ma się tyle przyczyn kochać! Ale dla człowieka takiego jak Vinteuil bolesniejsze niż dla kogokolwiek innego musiało być pogodzenie się z sytuacją, którą niesłusznie uważa się za wyłączny przywilej cyganerii; sytuacja ta powtarza się za każdym razem, kiedy przywara szuka sobie miejsca i bezpieczeństwa. Skazę tę rozwija w dziecku sama natura, czasem po prostu mieszając przymioty ojca i matki jak kolor ich oczu. Ale z tego, że Vinteuil znał może prowadzenie się córki, nie wynika, aby jego kult dla niej miał się zmniejszyć. Fakty nie wnikają w świat, w którym żyją nasze wierzenia; nie zrodziły ich i nie niszczą. Fakty mogą zadawać wierzeniom kłam, nie osłabiając ich, tak jak potop nieszczęść lub chorób może nawiedzać bez przerwy jakąś rodzinę, nie każąc jej zwątpić o dobroci Boga lub o wiedzy lekarza. Ale kiedy pan Vinteuil myślał o córce i o sobie z punktu widzenia świata i własnej ich reputacji, kiedy sobie uprzytomniał stopień, jaki zajmują w opinii, wówczas formułował swój sąd ściśle tak, jakby to uczynił najbardziej wrogi mu sąsiad z miasteczka. Czuł się wraz z córką na samym dnie, a wzięcie<sup>20</sup> jego nabrało od jakiegoś czasu owej pokory, owego szacunku dla tych, którzy znajdowali się powyżej niego i na których patrzył z dołu (choćby byli wprzód bardzo poniżej niego); owej potrzeby wspinania się do nich, która jest mechanicznym prawie następstwem wszelkiego upadku.

Jednego dnia, kiedyśmy szli ze Swannem przez Combray, pan Vinteuil, wychodząc z bocznej ulicy, spotkał się z nami zbyt nagle, aby mieć czas nas uniknąć; zaczęło Swann z owym wzgardliwym miłosierdziem światowca, który, wyzuty z wszelkich przesądów moralnych, w hańbie człowieka widzi jedynie powód do objawienia mu życzliwości, łechcącej własną naszą próżność tym milej, im bardziej czujemy ich wartość dla odbiorcy, wdał się w dłuższą rozmowę z panem Vinteuil, do którego nigdy dotąd się nie odzywał. Na rozstanie spytał go, czy nie przyśle kiedy córki do Tansonville. Dwa lata wprzód zaproszenie to byłoby oburzyło pana Vinteuil, ale teraz napełniło go taką wdzięcznością, że właśnie ta wdzięczność nie pozwoliła mu go przyjąć. Uprzejmość pana Swanna dla jego córki zdawała mu się czymś tak zaszczytnym i lubym, że wołał nie skorzystać z niej, aby mieć na wskroś platoniczną słodycz sycenia się nią.

— Cóż za uroczy człowiek! — mówił do nas, skoro Swann nas opuścił, a mówił to z tą samą entuzjastyczną czcią, jaką budzi w inteligentnej i ładnej mieszczańce urok księżnej, choćby brzydkiej i głupiej. — Cóż za uroczy człowiek! Co za szkoda, że się dał wciągnąć w tak nieodpowiednie małżeństwo.

Wówczas — tak bardzo najszczerzy ludzie skłonni są do obłudy, zapierając się w rozmowie z jakąś osobą swoich o niej sądów, które wyrażają poza jej oczami — rodzice moi ubolewali wraz z panem Vinteuil nad małżeństwem Swanna, w imię zasad i konwensów, których pogwałcenia w Montjouvain zdawali si nie widzieć, skoro powoływali się na nie wspólnie panem Vinteuil niby zacni ludzie z jednej mąki. Vinteuil nie posłał córki do państwa Swann. I Swann pierwszy tego żałował. Bo za każdym razem, kiedy się rozstał z panem Vinteuil, przypominał sobie, że miał się go od dawna spytać o coś, o kogoś, kto nosi to samo nazwisko, może krewnego. I tym razem przyrzekł sobie, że kiedy Vinteuil przyśle córkę do Tansonville, nie zapomni już tego, co mu miał do powiedzenia.

Ponieważ spacer w stronę Méséglise stanowił krótszą z dwóch naszych wycieczek i z tej przyczyny zachowywało się go na niepewną pogodę, klimat w stronie Méséglise był dosyć

<sup>20</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

dżdżysty i nigdy nie traciliśmy z oczu skraj lasów w Roussainville, w których gęszczy mogliśmy się schronić.

Często słońce kryło się za chmurą, która zniekształcała jego owal, gdy ono brzeg jej barwiło żółto. Blask (ale nie jasność) uciekał z pól, gdzie wszelkie życie zdawało się ustawać, podczas gdy wioska Roussainville rzeźbiła na niebie kontur swoich białych dachów z przygniatającą dokładnością. Podmuch wiatru spędział wronę, która opadała w oddali. Na tle bielejącego nieba dal lasów zdawała się bardziej niebieska, na kształt malowanych fajansów strojących ściany starych mieszkań.

Ale innym razem zaczynał padać deszcz, którym groził nam kapucyn na wystawie u optyka; krople wody niby wędrownie ptaki, które wzlatają wszystkie razem, spadały gęstymi szeregami z nieba. Nie dzielą się, nie idą na oślep w czasie chyżego przelotu; każda zachowuje swoje miejsce, ciągnie za sobą następną i niebo bardziej ćmi się od nich niż przy odlocie jaskółek. Chroniliśmy się w las. Kiedy ich podróż zdawała się skończona, niektóre, słabsze, wolniejsze, przybywały jeszcze. Ale my wychodziliśmy z naszego schronienia, bo krople lubują się w liściach; ziemia była już prawie sucha, kiedy ta i owa kropla, zapóźniona, igrała na żyłkach liścia i zawieszona u jego końca, wypoczęta, błyszcząca w słońcu, osuwała się naraz z wysokości gałęzi, spadając nam na nos.

Często także chroniliśmy się razem z kamiennymi świętymi i patriarchami w kruchcie kościoła Saint-André-des-Champs. Jakiż ten kościół był francuski! Nad bramą święci, królowie-rycerze z kwiatem lilii w ręce; weselne i pogrzebowe sceny, wszystko przedstawione tak, jak mogłoby się odbijać w duszy Franciszki. Rzeźbiarz opowiadał też niektóre anegdoty z życia Arystotelesa i Wergilego, tak samo jak Franciszka w kuchni mówiła chętnie o świętym Ludwiku, jakby go znała osobiście, zazwyczaj po to, aby pohańbić tym porównaniem moich dziadków, mniej odeń „sprawiedliwych”. Czulo się, że pojęcia, które średniowieczny artysta i średniowieczna wieśniaczka (zapóźniona w wiek XIX) mieli o historii starożytnej lub chrześcijańskiej — pojęcia równie nieścisle jak dobroduszne — pochodziły nie z ksiązek, ale z tradycji, zarazem starożytnej i bezpośredniej, nieprzerwanej, ustnej, zniekształconej, skażonej i żywej.

Inna osoba w Combray, którą odnajdywałem również, przeczutą i przepowiedzianą, w gotyckiej rzeźbie w Saint-André-des-Champs, to był młody Teodor, subiekt od Camusa. Franciszka czuła w nim tak dalece krajana i człowieka jednej epoki, że kiedy ciocia była zbyt chora, aby Franciszka nastarczyła sama przewracać ją w łóżku, przenosić ją na fotel, wówczas — raczej niżby miała pozwolić „dziewczynie” zyskiwać łaski cioci — wzywała Teodora. Otóż chłopak ten, słusznie uchodzący za ladaco, tak był wypełniony duszą, która ozdobiła Saint-André-des-Champs, a zwłaszcza uczuciami szacunku, jakie Franciszka uważała za należne „biednym chorym” i „biednej pani”, że podnosząc głowę cioci na poduszce, miał ową naiwną i pobożną minę aniołków z płaskorzeźby, cisnących się ze świecą w dłońi dokoła omdlewającej Dziewicy. Można by rzec, iż twarze rzeźbione w kamieniu, szare i nagie niby lasy w zimie, są jedynie uspieniem, zapasem gotowym rozkwitnąć w życiu w niezliczonych twarzach chłopskich, wielebnych i szczywanych jak twarz Teodora, barwiących się czerwienią dojrzałego jabłka.

Już nie przylepiona do kamienia jak owe aniołki, ale odcinająca się od kruchty, o postawie więcej niż ludzkiej, jakaś święta stała na cokole niby na taburecie chroniącym jej stopy od zetknięcia z wilgotną ziemią. Miała pełne policzki, twardą pierś wzdymającą draperię jak dojrzałe grono wzdyma worek, wąskie czoło, nos krótki i krnąbrny, głęboko osadzone źrenice, czerstwą, nieczułą i dzielną twarz miejscowych wieśniaczek. Podobieństwo to, dające posągowi słodycz, której w nim nie szukałem, często znajdowało potwierdzenie w jakiejś wiejskiej dziewczynie, jak my chroniącej się przed deszczem, która, podobna pnącym się liściom wyrosłym obok liści rzeźbionych, zdawała się mieć ten cel, aby przez zestawienie z naturą pomóc ocenić prawdę dzieła sztuki.

Przed nami, w oddali — ziemia obiecana lub przeklęta — widniało Roussainville, w którego mury nigdy nie wstąpiłem; Roussainville to, kiedy deszcz dla nas już ustał, dalej karcone niby biblijna wioska wszystkimi grotami burzy, z ukosa smagającymi siedziby jego mieszkańców; to znów już rozgrzeszone przez Boga Ojca, który słał ku niemu niby promienie monstrancji nierówne, postrzępione, złote lodygi powracającego słońca.

Czasem pogoda była zupełnie beznadziejna, trzeba było wracać i siedzieć w domu. Tu i ówdzie, w oddali, we wsi, którą ciemność i wilgoć czyniły podobną morzu, pojedyn-

cze domy, uczepione pagórka tonącego w nocy i w wodzie, błyszczały niby małe statki, gdy zwiną żagle i trwają bez ruchu całą noc na pełnym morzu. Ale co znaczył deszcz, co znaczyła burza! W lecie słońca jest jedynie przelotnym, powierzchownym kaprysem podskórnej i ciągłej pogody, bardzo różnej od niestałej i dorywczej pogody zimowej. Pogoda letnia, przeciwnie, rozgoszczona na ziemi, utrwalona w gęstych liściach, na które deszcz może ściekać, nie naruszając ich trwałej radości, wywiesza na cały sezon, nawet w uliczkach wiejskich swoje fioletowe lub białe jedwabne flagi. W saloniku, gdzie czytałem, oczekując godziny obiadu, słyszałem, jak woda ścieka z kasztanów, ale wiedziałem, że ulewa tylko wylakieruje ich liście i że zostaną tam niby rękojmia lata przez całą dżdżystą noc, poręczając ciągłość pogody; że choć dziś leje jak z cebra, jutro nad białymi sztachetami Tansonville listki w kształcie serca będą falowały, równie liczne. I bez smutku widziałem, jak topola z ulicy des Perchamps zwraca się do burzy w rozpaczliwych błaganiach i pokłonach; bez smutku słyszałem w głębi ogrodu, jak ostatnie pomruki grzmotu gruchają w bzach.

Jeżeli było brzydko od rana, rodzice wyrzekali się przechadzki; wówczas nie wychodziłem. Ale później nawykłem chodzić sam w owe dni w stronę *Méséglise-la-Vineuse*. Było to w jesieni, kiedyś musieli przybyć do Combray z racji spadku po cici Leonii, bo wreszcie umarła, pozwalając tryumfować tym, co twierdzili, że jej niedorzeczny tryb życia zabije ją w końcu, jak niemniej tym, co zawsze utrzymywali, że ona cierpi na chorobę nie urojoną, ale organiczną, której oczywistość sceptycy będą musieli uznać, gdy chora umrze. Śmiercią swoją sprawiła wielki ból tylko jednej istocie, ale ból dziki. Przez dwa tygodnie ostatniej choroby cici Franciszka nie zostawiła jej ani na chwilę, nie rozebrała się, nie pozwoliła nikomu udzielić jej żadnej posługi i nie opuściła ciała, aż kiedy je pogrzebano. Wówczas zrozumieliśmy, że ta nieustanna obawa zniewag, podejrzeń, gniewów cicińskich rozwinęła we Franciszce uczucie, które myśmy brali za nienawiść, a które było czcią i miłością. Jej prawdziwa pani o decyzjach nieodgadnionych, o podstępach nieodparty, o dobrym sercu łatwym do wzruszenia, jej tajemnicza i wszechpotężna monarchini, jej władza nie istniała już. Przy tej zmarłej my zaledwie liczyliśmy się za coś. Daleki był czas, w którym, kiedyś zaczęli jeździć na lato do Combray, mieliśmy w oczach Franciszki tyleż uroku co ciocia Leonia. Tej jesieni, całkowicie zajęci formalnościami, wizytami rejentów i dzierżawców, rodzice nie mieli prawie czasu na spacer, którym zresztą nie sprzyjała pogoda; nawykli tedy puszczać mnie samego w stronę *Méséglise*, w wielkim pledzie, który mnie chronił od deszczu, a który narzucałem tym chętniej, że czulem, iż jego szkockie pasy gorszą Franciszkę. Niepodobna by wytłumaczyć jej, że kolor odzieży nie ma nic wspólnego z żałobą; zresztą żal nasz po cici nie trafiał jej do przekonania, bo nie wyprawiliśmy stypy, bo mówiąc o zmarłej, nie przybieraliśmy specjalnego głosu, a mnie zdarzało się czasem nawet zanucić. Jestem pewien, że w książce — w czym byłem sam podobny do Franciszki — owo pojęcie żałoby w duchu *Pieśni o Rolandzie* oraz portalu Saint-André-des-Champs byłoby mi sympatyczne. Ale z chwilą gdy Franciszka była w pobliżu, jakiś demon kusił mnie, żeby ją rozzłościć: chwyciłem się najłżejszego pozor, aby powiedzieć, że żałuję cici Leonii, bo to była dobra kobieta mimo swoich śmieszności, ale wcale nie dlatego że była moją ciotką; że mogłaby być moją ciotką i być mi wstrętną, a jej śmierć mogłaby mi nie sprawić żadnej przykrości — powiedzenia, które wydawałyby mi się głupie w książce.

Jeżeli wówczas Franciszka, wypełniona niby poeta falą skłębionych myśli, zmartwień, wspomnień rodzinnych, tłumaczyła się, że nie umie odpowiedzieć na moje teorie i mówiła: „Nie umiem się wygadać”, tryumfowałem nad nią ironicznym i brutalnym rozsądkiem godnym doktora Percepied; a jeżeli dodawała: „Zawsze to było krewniactwo, zawsze zostaje szacunek, jak się należy krewniactwu”, wzruszałem ramionami i powiadałem sobie: „Głupi jestem, żeby dysputować z ciemną babą, nieumiejącą nawet mówić”. W sądach tych o Franciszce zajmowałem punkt widzenia właściwy ludziom, którymi łatwo gardzimy w abstrakcji, ale których równie łatwo skłonni jesteśmy naśladować w potocznych wypadkach życia.

Moje jesienne spacerki były tym przyjemniejsze przez to, że je odbywałem po długich godzinach spędzonych nad książką. Kiedyś się zmęczyłem czytaniem w pokoju całe rano, wówczas narzucając pled, wychodziłem; ciało moje, zmuszone do długiego bezruchu, ale

naładowane skupioną energią i chyżością, potrzebowało niby puszczonego bąk wyładować się we wszystkich kierunkach. Ściany domów, żywoplot w Tansonville, drzewa w Roussainville, zarośla koło Montjouvain, obrywały ciosy parasola lub laski, słyszały radosne okrzyki — zastępcze wyładowanie skłębionych myśli, które mnie ożywiały i które nie osiągnęły ukojenia świadomości, przełożywszy lubość łatwiejszych i bezpośrednich odprężeń nad wolną i trudną introspekcję. Większość rzekomych wykładów, tego cośmy odczuli, uwalnia nas jedynie od naszych uczuć, wydobywając je z nas w mętym kształcie, który niczego nam nie uświadamia.

Kiedy próbuję zrobić rachunek tego, com winien stronie Méséglise, skromnych odkryć, których ona była przypadkową ramą lub nieodzownym bodźcem, przypominam sobie, iż owej jesieni, na takiej przechadzce, w pobliżu zarośli osłaniających Montjouvain pierwszy raz uderzył mnie rozdźwięk między naszymi wrażeniami a ich zwykłym wyrazem. Po godzinie deszczu i wiatru, z którymi walczyłem radośnie, przybyłem nad sadzawkę w Montjouvain, do krytej dachówką chatki, gdzie ogrodnik pana Vinteuil chował swoje narzędzia. W tej chwili zjawilo się słońce: złocenia jego, umyte przez ulewę, znów rozbłysły na niebie, na drzewach, na ścianach domku, na mokrym jeszcze dachu, po którego szczycie przechadzała się kura. Wiatr ciągnął poziomo wyrosłe w szczelinach zielska wraz z pierzem kury; jedno i drugie dały się wlec jego podmuchom aż do granic swojej pełnej długości, z całym poddaniem się rzeczy bezwładnych a lekkich. W sadzawce, której słońce wróciło przejrzystość, dachówki odbijały się różowym marmurkiem, na który nigdy przedtem nie zwróciłem uwagi. I widząc, jak na wodzie i na powierzchni murów błady uśmiech odpowiada uśmiechowi nieba, wykrzyknąłem w zachwycie, potrząsając zwiniętym parasolem: „Hop! hop! hop! hop!”. Ale równocześnie uczulem, że obowiązkiem moim byłoby nie poprzestać na tych bezładnych okrzykach i starać się jaśniej czytać w swoim zachwyceniu.

Wieśniak, który przechodził z miną dość już markotną, a spochmurniał jeszcze, kiedy o mało nie dostał ode mnie parasolem w twarz, odpowiedział bez zapału na moje: „piękna pogoda, prawda, dobry spacer”, z czego zrozumiałem, że wzruszenia nie powstają równocześnie, wedle ustalonego porządku, jednakie u wszystkich ludzi. Później za każdym razem, kiedy przydługa lektura zrodziła we mnie chęć rozmowy, kolega, do którego zagadał, dopiero co oddawał się przyjemnościom konwersacji i miał ochotę czytać teraz w spokoju. Kiedy ja myślałem o rodzicach z czułością i powziąłem właśnie jakieś postanowienie wielce rozsądne i zdolne ich ucieszyć, oni zużyli ten sam czas na to, aby się dowiedzieć o jakimś drobnym przestępstwie, o którym zapomniałem i które wyrzucali mi surowo w chwili, gdy ja się im rzucałem na szyję.

Czasami z egzaltacją, jaką rodziła we mnie samotność, łączyła się inna, której nie umiałem dobrze odróżnić od tamtej; żądza ujrzenia nagle wieśniaczki, którą mógłbym wziąć w ramiona. Towarzysząca owemu pragnieniu rozkosz — zrodzona nagle, wśród bardzo odmiennych myśli, tak że nie miałem czasu związać jej ściśle z jej przyczyną — wydawała mi się jedynie wyższym stopniem rozkoszy, jaką mi dawały owe myśli. Poczytywałem ją za jeden urok więcej wszystkiego, co było w tej chwili w mojej duszy: różowego odblasku dachówki, zieleni, wioski Roussainville, dokąd pragnąłem od dawna się wybrać, drzew, wieży; przypisywałem swoje nowe wzruszenie wszystkim tym rzeczom, tym bardziej upragnionym przez to, że je brał za przyczynę mego stanu. Zdawało mi się, że owo wzruszenie chce mnie jedynie nieść ku nim szybciej, kiedy wzdymało mój żagiel potężnym, nieznanym i błogim powiewem. Ale o ile ta żądza widoku kobiety dawała czarom przyrody coś bardziej podniecającego, nawzajem czar przyrody rozprzestrzeniał znowuż to, co byłoby w powabie kobiety zbyt ograniczone. Zdawało mi się, że piękność drzew jest również jej pięknnością, że pocałunek jej da mi na własność duszę tych widnokręgów, wioski Roussainville, książek czytanych w tym roku. Wyobrażenia moja odzyskiwała siły w podniecie zmysłów; zmysły promieniowały we wszystkie dziedziny wyobraźni; żądza moja nie miała kresu ani granic.

W chwilach marzenia na łonie natury, kiedy ustaje działanie nawyku, kiedy odsuniemy od siebie oderwane pojęcia o rzeczach, zdarza się, że wówczas wierzymy głęboko w odrębność, w indywidualne życie miejsc, w których się znajdujemy. I tak nieznaną, której wzywała moja żądza, wydawała mi się nie jakimś egzemplarzem ogólnego typu



*kobiety*, ale koniecznym i naturalnym produktem tego gruntu. Bo w owym czasie wszystko, co nie było mną, ziemia i ludzie, wydawało mi się cenniejsze, ważniejsze, obdarzone rzeczywistym istnieniem, niż się to wydaje dojrzałym ludziom. A ziemi i osób nie rozdzielałem. Pragnąłem wieśniaczki z Méséglise albo z Roussainville, rybaczkę z Balbec, tak jak pragnąłem Méséglise i Balbec. Rozkosz, jaką mogłyby mi dać, wydałaby mi się mniej prawdziwa, nie byłbym już w nią uwierzył, gdybym dowolnie zmienił jej okoliczności. Znać w Paryżu rybaczkę z Balbec albo wieśniaczkę z Méséglise, znaczyłyby dostać muszle nieogładane na plaży, paproć nieznaną przeze mnie w lesie; znaczyłyby z rozkoszy, którą by mi dała kobieta, ująć wszystkie te, w które oblekła ją moja wyobraźnia. Ale błędzić tak w lasach Roussainville bez dziewczyny, którą bym mógł całować, to znaczyło nie poznać ukrytego skarbu tych lasów, ich głębokiej piękności. Ta dziewczyna, którą wyobrażałem sobie spowitą w liście, sama była dla mnie niby miejscowa roślina, wyższego jedynie gatunku od innych, pozwalająca dzięki swojej budowie lepiej wnikać w głęboki smak ziemi. Wierzyłem tym samym, że pieszczoty jej byłyby też odrębnego gatunku, tak że słodczy ich nie mogłaby mi dać poznać żadna inna. Mogłem w to wszystko uwierzyć bez trudu; byłem jeszcze w wieku, kiedy nie oddziela się samego owego szczęścia od rozmaitych kobiet, z którymi się go zazało; kiedy się go nie sprowadza do ogólnego pojęcia, pozwalającego odtąd uważać kobiety za wymienne narzędzia zawsze tożsamej rozkoszy. Rozkosz ta nie istnieje nawet wyosobniona, odrębna i sformułowana w myśli jako cel, który ścigamy, zbliżając się do kobiety, jako przyczyna zawczasu doznanych wzruszeń. Prawie nie myśli się o niej jak o przyszłej rozkoszy; raczej smakuje się własny jej urok; bo nie myśli się o sobie, myśli się jedynie o tym, aby wyjść z siebie. Mglisto oczekiwana, immanentna i ukryta, doprowadza ona tylko w chwili spełnienia do najwyższego spazmu inne wzruszenia zrodzone ze słodkich spojrzeń, z pocałunków tej, która jest przy nas. Rozkosz ta objawia się nam zwłaszcza jako wybuch wdzięczności dla naszej towarzyszki za jej dobroć, za jej wzruszającą przychyłność ocenianą wedle rozmiarów dobrodziejstw i szczęścia, którym nas darzy.

Niestety, próżno wzywałem basztę w Roussainville, próżno błagałem ją, aby zesłała ku mnie jakieś dziecię swojego siola. Błagałem ją, jedyną powiernicę moich pierwszych pragnień na szczycie naszego domu w Combray, w małej ubikacji pachnącej irysem. Widziałem tylko ową basztę w kwadracie uchylonego okna, podczas gdy wśród bohaterskich walk podróżnika-odkrywcy lub kandydata na samobójcę, w pół omdlewając, torowałem w sobie samym nieznaną i — jak sądziłem — śmiertelną drogę aż do momentu, gdy naturalny ślad, podobny śladom ślimaka, zaznaczył się na zwisających ku mnie liściach dzikiej porzeczki. Próżno błagałem ją teraz. Próżno, ogarniając oczami przestrzeń, drażyłem ją wzrokiem żądnym wywołać z niej kobietę. Mogłem iść aż do kruchty Saint-André-des-Champs: nigdy nie ujrzałem żadnej dziewczyny, a spotkałbym ją z pewnością, gdybym był w towarzystwie dziadka i nie mógł jej zaczepić. Wpatrywałem się bez końca w pień odległego drzewa, zza którego miała się wyłonić i przyjść do mnie; pożerany oczami widnokrąg wciąż był pusty, noc zapadła. Bez nadziei myśl moja wpijała się w ten jałowy grunt, w tę wyczerpaną ziemię, jak gdyby chcąc wyssać kryjące się w niej istoty; i już nie z radości, ale z wściekłości smagałem drzewa w lesie Roussainville, tak samo niezdolne wydać żywą istotę, co gdyby były malowaną na płótnie panoramą. I nie mogąc się zdecydować wrócić do domu, nie utuliwszy w ramionach kobiety, której tak pragnąłem, musiałem wszelako wracać do Combray, wyznając przed samym sobą, że przypadek, który by ją sprowadził na moją drogę, jest coraz mniej prawdopodobny.

Gdyby się znalazła zresztą, czy ośmieliłbym się do niej przemówić? Przypuszczałem, że wzięłaby mnie za wariata; przestawałem wierzyć, aby inne istoty mogły podzielić pragnienia, jakich doznawałem daremnie w czasie tych spacerów; przestawałem wierzyć w ich obiektywną prawdę. Wydawały mi się już tylko czysto podmiotowym, bezsilnym, zwodniczym tworem mojego temperamentu. Nie miały już związku z przyrodą, z rzeczywistością, która od tej chwili straciła wszelki urok i sens, i stała się dla mojego życia jedynie konwencjonalną ramą, jak nią jest dla wątku powieści wagon, na którego ławce dla zabicia czasu podróżny czyta książkę.

W kilka lat potem, również w pobliżu Montjouvain, doznałem wrażenia, które wówczas pozostało mętne, ale z którego wyłoniło się może o wiele później pojęcie, jakie sobie wytworzyłem o sadyzmie. Okazuje się z czasem, iż z całkiem innych powodów pamięć tego

wrażenia miała grać ważną rolę w moim życiu. Było to w wielki upał; rodzice, zmuszeni wyjechać gdzieś na cały dzień, pozwolili mi wrócić do domu, kiedy zechcę. Zaszedłszy do sadzawki w Montjouvain, w której lubiłem oglądać odbicie dachówek, wyciągnąłem się w krzakach i zasnąłem na wzgórzu nad domem, tam gdzie niegdyś czekałem na ojca będącego z wizytą u pana Vinteuil. Była prawie noc, kiedym się obudził; chciałem wstać, ale ujrzałem pannę Vinteuil (o ile mogłem ją poznać, nieczęsto bowiem widywałem ją w Combray i to wtedy, kiedy była jeszcze dzieckiem, teraz zaś zaczynała być dorosłą panną), która prawdopodobnie dopiero co wróciła. Znajdowała się na wprost okna, o kilka centymetrów ode mnie, w tym pokoju, gdzie jej ojciec gościł mojego ojca, a gdzie teraz był jej salonik. Okno było uchylone, lampa się paliła, widziałem każdy jej ruch. Ona mnie nie widziała, ale gdybym się oddalił, narobiłbym chrzęstu, usłyszałaby mnie i mogłaby przypuszczać, że się tam skryłem, aby ją szpiegować.

Była w grubej żałobie, ojciec jej zmarł. Nie wybraliśmy się do niej z kondolencją; matka nie chciała tego zrobić przez jakąś wstydlivość; była to jedyna cnota, która paraliżowała w mojej matce działanie dobroci. Ale współczuła z nią szczerze. Przypominając sobie smutny schyłek życia pana Vinteuil, życia pochłoniętego zrazu macierzyńskimi staraniami o córkę, potem zgryzotą, jaką mu sprawiała, matka widziała twarz starca udęczoną w ostatnich czasach; wiedziała, że się na zawsze wyrzekł przepisania na czysto swoich ostatnich utworów. Biedne „kawalki” starego nauczyciela fortepianu, dawnego organisty! Wyobrażaliśmy sobie, że nie mają wartości same przez się, ale nie gardziliśmy nimi, bo miały tyle wartości dla niego, były jego racją życia, zanim je poświęcił dla córki. Teraz po większej części nawet nie zanotowane, zachowane tylko w jego pamięci, niektóre rzucone na luźne kartki, nieczytelne, utwory te miały pozostać nieznanne. Matka myślała o owym drugim, okrutniejszym jeszcze wyrzeczeniu, z którym pan Vinteuil musiał się pogodzić; rezygnacji z uczciwego i godnego szczęścia dla córki. Kiedy matka sobie uprzytomniała całą tę straszliwą rozpacz eksnauczyciela moich ciotek, czuła prawdziwy ból i myślała ze zgrozą o sroższej jeszcze męczarni, jaką musiała przechodzić panna Vinteuil wraz z wyrzutem, że niemal zabiła ojca. „Biedny Vinteuil, mówiła matka; żył i umarł dla córki, nie otrzymał zapłaty. Czy otrzyma ją po śmierci i w jakiej postaci? Mógłby się jej spodziewać tylko od córki!”

W saloniku panny Vinteuil stał na kominku portrecik jej ojca. Żywo podeszła do niego w chwili, gdy na gościńcu rozległ się turkot pojazdu; potem rzuciła się na kanapę i przysunęła stoliczek, gdzie postawiła portret, podobnie jak pan Vinteuil położył niegdyś koło siebie utwór, który miał ochotę przegrać moim rodzicom. Niebawem weszła przyjaciółka. Panna Vinteuil przywitała ją, nie wstając, z rękami zaplecionymi na karku i cofnęła się w przeciwny kąt sofy, jak gdyby czyniąc jej miejsce. Ale natychmiast uczuła, że narzuca niejako gościowi pozycję, może niepożądaną. Pomyślała, że przyjaciółka będzie może wolała usiąść opodal na krześle; zlekła się własnej niedelikatności; w sercu jej zjawily się skrupuły; zajmując z powrotem całą sofę, zamknęła oczy i zaczęła ziewać dla okazania, że chęć snu jest jedyną przyczyną jej pozycji. Mimo szorstkiej i władczej poufałości, z jaką panna Vinteuil traktowała przyjaciółkę, poznałem w niej pokorne i powściągliwe gesty jej ojca, jego nagłe skrupuły. Wkrótce wstała, udając, że chce zamknąć okiennice i że nie może sobie z tym dać rady.

— Zostaw otwarte, gorąco jest — rzekła przyjaciółka.

— To niezdrowo, zobacz nas — odparła panna Vinteuil.

Ale odgadła z pewnością, iż przyjaciółka pomyśli, że mówi jedynie po to, aby wywołać w zamian inne słowa, które w istocie miała ochotę usłyszeć, ale których inicjatywę chciała przez dyskrecję zostawić tamtej. Toteż spojrzenie jej, mimo iż nie mogłem go dostrzec, musiało przybrać wyraz, który tak lubiła moja babka. Dodała żywo:

— Kiedy mówię, że nas zobaczą, myślę, że zobaczą, jak czytamy. Choćby się robiło najobojętniejsze rzeczy, niezdrowo jest uczucie, że ktoś obcy może widzieć.

Przez odruchową delikatność i mimowolną uprzejmość zmilczała przygotowane słowa, nieodzowne dla pełnego ziszczenia jej pragnień. I co chwila w głębi niej samej nieśmiała i błagalna dziewczica zaklinała i odsuwała szorstkiego i zwycięskiego żołdaka.

— Tak, to bardzo prawdopodobne, że na nas patrzą o tej godzinie, w tej tak uczęszczanej okolicy — rzekła ironicznie przyjaciółka. — A wreszcie co? — dodała, uważając za swój obowiązek szelmowskim i tkliwym zmrużeniem oczu podkreślić te słowa, które

wyrecytowała przez dobroć, niby lekcję, ze świadomością, że będą one miłe pannie Vinteuil i tonem rozmyślnie cynicznym. — Choćby nawet ktoś nas zobaczył, to tylko tym lepiej smakuje.

Panna Vinteuil zdrząła i podniosła się. Jej pełne skrupułów i wrażliwe serce nie wiedziało, jakich słów trzeba, aby się dostroić do sceny, której żądały jej zmysły. Siłiła się, możliwie najdalej od swojej prawdziwej natury, znaleźć język zepsutej dziewczyny, jaką pragnęła być; ale słowa, które — sądziła — byłyby szczerze u owej dziewczyny, brzmiały jej fałszywie we własnych ustach. Już to, na co sobie pozwoliła, powiedziane było tonem sztucznym, w którym wrodzona nieśmiałość paraliżowała próbki zuchwalstwa; i wciąż wracała do powieżeń w rodzaju: „czy ci nie zimno, czy ci nie za gorąco, czy nie miałabyś ochoty zostać sama i czytać?”

— Zdaje mi się, że moja pani ma dziś myśli wielce lubieżne — rzekła w końcu, powtarzając z pewnością zdanie usłyszane niegdyś z ust przyjaciółki.

W rozchyleniu krepowego stanika panna Vinteuil uczuła, że przyjaciółka uszczknęła pocałunek; wydała krzyk, wydarła się. Gonily się, podskakując, machając szerokimi rękawami jak skrzydłami, gruchając i piszcząc jak zakochane ptaki. W końcu panna Vinteuil padła na kanapę, przykryta ciałem tamtej; ale przyjaciółka zwrócona była grzbietem do stolika, na którym stał portret starego nauczyciela fortepianu. Panna Vinteuil zrozumiała, że przyjaciółka nie spostrzeże portretu, o ile ona sama nie zwróci na niego jej uwagi; rzekła tedy, jak gdyby dopiero co spostrzegła portret:

— Och, ten portret ojca, patrzy na nas! Nie wiem, kto go tu postawił; mówiłam przecie dwadzieścia razy, że nie tu jest jego miejsce.

Przypomniałem sobie, że to były słowa pana Vinteuil, powiedziane do ojca o własnym utworze.

Ten portret służył im z pewnością zazwyczaj do rytualnych profanacji, bo przyjaciółka odpowiedziała słowami, które musiały stanowić część ceremoniału:

— Ale zostaw go, gdzie jest; nie żyje, nie będzie nas już nudził. Wyobrażasz sobie, jakby popłakiwał, jakby cię chciał ubrać w płaszczyk, gdyby cię widział tu, przy otwartym oknie. Paskudna małpa!

Panna Vinteuil odparła z łagodnym wyrzutem: „Daj pokój, daj pokój”... Słowa te świadczyły o dobroci jej natury, nie iżby były podyktowane oburzeniem za ojca (widocznie było to uczucie, które nauczyła się — przy pomocy jakich sofizmatów! — tłumić w sobie w owych chwilach), ale dlatego, że były niby hamulcem, jaki, nie chcąc się okazać egoistką, sama nakładała rozkoszy, którą przyjaciółka chciała jej sprawić. A przy tym ten uśmiechnięty takt w odpowiedzi na bluźnierstwa tamtej, ten obłudny i tkliwy wyrzut, wydawały się może jej poczciwej i szczerzej naturze szczególnie bezecną, obleśną formą niegodziwości, którą siłiła się sobie przyswoić. Ale nie mogła się oprzeć rozkoszy, jaką wróżyła pieśczoła osoby tak nieubłaganej wobec bezbronno nieboszczyka; skoczyła na kolana przyjaciółki i podała jej niewinnie czoło do pocałowania, tak jakby mogła uczynić, gdyby była jej córką, czując z rozkoszą, że w ten sposób dochodzą obie do krańca okrucieństwa, wydzierając panu Vinteuil nawet w grobie jego ojcostwo. Przyjaciółka ujęła jej głowę w ręce i złożyła pocałunek na czole panny Vinteuil z uległością, którą ułatwiała jej głębokie przywiązanie do niej oraz chęć ożywienia jakąś rozrywką tak smutnego obecnie życia sieroty.

— Czy wiesz, co mam ochotę zrobić tej starej ohydzie? — rzekła, biorąc portret.

I szepnęła do ucha panny Vinteuil coś, czegom nie mógł dosłyszeć.

— Och! Nie odważyłabyś się.

— Nie odważyłabym się napluć? Na to? — rzekła przyjaciółka z rozmyślną brutalnością.

Nie słyszałem więcej, bo panna Vinteuil z wyrazem umęczenia, niezręczna, zakłopotana, poczciwa i smutna, zamknęła okiennice i okno; ale wiedziałem teraz, jaką pan Vinteuil otrzymał po śmierci zapłatę za wszystkie cierpienia, które zniósł za życia dla córki.

A jednak myślałem później, że gdyby pan Vinteuil mógł być świadkiem tej sceny, nie byłby może jeszcze stracił wiary w serce córki i może nawet nie omyliłby się w tym zbytnio. Z pewnością w obyczajach panny Vinteuil pozór zła był tak kompletny, że trudno by go spotkać w tym stopniu doskonałości gdzie indziej niż u sadystki. Raczej w świetle

rampy bulwarowych teatrów niż pod lampą rzeczywistego wiejskiego domku zdarza się oglądać córkę każącą przyjaciółce pluć na portret ojca, który żył tylko dla niej; zaledwie sadyzm może usprawiedliwić w życiu estetykę melodramatu. W życiu, poza wypadkami sadyzmu, córka obraziłaby może równie okrutnie pamięć i wolę zmarłego ojca, ale nie streściłaby się rozmyślnie w tak pierwotnym i naiwnym symbolu; zbrodniczość jej postępowania byłaby bardziej zakryta oczom ludzi, a nawet jej własnym oczom. Robiłaby źle, nie przyznając się do tego przed sobą. Ale wbrew pozorom w sercu panny Vinteuil zło, w początkach przynajmniej, nie było zapewne bez domieszki. Taka jak ona sadystka jest artystką złego, którą istota zupełnie zła nie mogłaby być, bo zło nie byłoby dla niej czymś zewnętrznym; wydawałoby się jej całkiem naturalne, nie wyodrębniałoby się nawet od niej. Cnoty, pamięć zmarłych, pietyzm dziecka, nie byłyby dla niej przedmiotem kultu, tym samym nie znajdowałyby świętokradzkiej rozkoszy w ich profanowaniu. Sadyści w rodzaju panny Vinteuil to są istoty tak wyłącznie uczuciowe, tak z natury cnotliwe, że nawet rozkosz zmysłów wydaje się im czymś złym, przywilejem złych. I kiedy zdobędą się na to, aby się jej poddać na chwilę, wówczas starają się wejść w skórę ludzi złych i wcisnąć w nią swego współnika, aby mieć złudzenie, że się wymknęli na chwilę ze swojej duszy, delikatnej i czulej, w nieludzki świat rozkoszy. I zrozumiałem, jak bardzo panna Vinteuil pragnęła tego, kiedy widział, jak niepodobna jej jest to osiągnąć. W chwili gdy pragnęła być tak inną od ojca, najbardziej przypominała mi obyczaje i wyrażenia starego nauczyciela fortepianu. Było coś, co profanowała o wiele więcej niż jego fotografię, coś, co wciągała w swoje rozkosze, ale co ją od nich odgradzało, nie pozwalając jej kosztować ich wprost; to było właśnie jej podobieństwo do ojca, błękitne oczy jego matki, które przekazał córce niby klejnot rodzinny; to były owe uprzejme gesty, które pomiędzy grzech panny Vinteuil a nią samą wsuwały frazeologię i mentalność niestworzone dla tego grzechu, przeszkadzając jej odróżnić go od licznych obowiązków grzeczności, których przestrzegła zazwyczaj. To nie grzech rodził w niej pojęcie potężnej rozkoszy; to rozkosz zdawała się jej grzeszna. Że zaś za każdym razem rozkosz łączyła się dla niej z owymi złymi myślami, które poza tym były obce jej cnotliwej duszy, znajdowała w końcu w rozkoszy coś diabolicznego, utożsamiała ją ze Złem. Może panna Vinteuil czuła, że przyjaciółka jej nie jest z gruntu zła i że nie jest szczerą w chwili, gdy ją zabawia bluźnierczymi słowami. W każdym razie znajdowała w tym przyjemność, aby całować na jej twarzy uśmiechy i spojrzenia, udane może, ale w swoim występny i niskim wyrazie pokrewne tym, jakie miałyby nie istota współczująca i dobra, ale istota okrutna i lubieżna. Mogła sobie wyobrazić przez chwilę, że naprawdę uprawia zabawy, jakie z partnerką równie wynaturzoną mogłaby uprawiać córka żywiąca w istocie tak nieczne uczucia wobec pamięci ojca. Może nie byłaby uważała zła za stan tak rzadki, tak niezwykajny, tak egzotyczny — za coś, w co przenieść się jest takim wytchnieniem — gdyby umiała odczuć w sobie — i w innych — ową obojętność na ból, jaki się sprawia, obojętność, która bez względu na to, jakie jej dać miano, jest straszliwą i trwałą formą okrucieństwa.

O ile było dosyć proste iść w stronę Méséglise, co innego było wybrać się w stronę Guermites. Spacer ten był daleki i wymagał niezawodnej pogody. Kiedy się zdawało, że nadchodzi seria ładnych dni, kiedy Franciszka zrozpaczona, że nie spada ani kropla wody na „biedne pola” i widząc jedynie skąpe białe chmurki na spokojnym i błękitnym niebie, biadoliła: „Nie powiedziała by kto, że to jakie zwierzaki bawią się na tym niebie wyszczyrzając pyski! Ha, ha, właśnie im w głowie zesłać deszcz dla biednych rolników! A potem, kiedy się zboże wykłosi, wtedy zaczniesz lać ciurkiem, bez przerwy, nie dbając, na co pada, niby na to morze”; kiedy ojciec otrzymywał niezmiennie te same pomyślnie odpowiedzi od ogrodnika i od barometru, wówczas mówiło się przy obiedzie: „Jutro, jeżeli będzie tak samo ładnie, pójdziemy w stronę Guermites”. Wyruszyliśmy zaraz po śniadaniu furtką od ogrodu i zapuszczaliśmy się w ulicę des Perchamps, ciasną i tworzącą ostry kąt, zarosniętą zielskiem, na którym herboryzowało parę os; ulicę równie dziwną jak jej nazwa, z której zdawała się wywodzić swoje oryginalne cechy i charakter. Próżno szukałoby się tej ulicy w dzisiejszym Combray; na jej miejscu jest dziś szkoła. Ale moje marzenie (podobne owym architektom ze szkoły Viollet-le-Duca, którzy sądząc, że pod renesansową emporą i siedemnastowiecznym ołtarzem odnaleźli ślady romańskiego chóru, doprowadzają całą budowlę do stanu, w jakim musiała być w XII wieku) nie zostawia ani jednego kamienia z nowego budynku; przebija na nowo i „rekonstruuje” ulicę des Perchamps.

Wyobrażenia moja posiada zresztą do tej rekonstrukcji ściślejsze dane, niż je mają zazwyczaj konserwatorowie; parę obrazów zachowanych w mojej pamięci, ostatnich może, jakie istnieją jeszcze, i przeznaczonych na to, aby niebawem zgasły — obrazów Combray z czasu mego dzieciństwa; wzruszających tym, że je nakreśliło we mnie samo Combray, nim znikło; wzruszających — jeżeli można zestawiać lada jaki portret z owymi wspaniałymi dziełami sztuki, które babka lubiła mi dawać w reprodukcjach — jak owe dawne szytychy *Wieczery* lub obraz Gentile Bellini, w których widzi się arcydzieło Leonarda i portal Świętego Marka w stanie nieistniejącym już dzisiaj.

Przechodziło się ulicą Ptasia koło starej gospody pod Ustrzelonym Ptakiem, w którego wielki dziedzińiec wjeżdżały czasem w XVII wieku karoce księżnych de Montpensier, de Guermantes i de Montmorency, kiedy damy te zjawiały się w Combray na jakiś proces z dzierżawcami lub w sprawie lennego hołdu. Dochodziło się do promenady wśród drzew, skąd widać było wieżę św. Hilarego. I byłbym chciał usiąść tam i zostać cały dzień, czytając i słuchając dzwonów; bo było tak ładnie i spokojnie, że można by rzec, iż zegar, bijąc godzinę, nie przerywa spokoju dnia, ale że go uwalnia od jego zawartości, i że dzwonnica — niedbale i starannie, jak ktoś niemający nic innego do roboty — przycisnęła w danym momencie jedynie pełnię ciszy, aby z niej wycisnąć i upuścić parę kropelek złota, które w niej powoli i nieznacznie zebrało gorąco.

Największym urokiem strony Guermantes było to, że szło się prawie cały czas wzdłuż Vivonne. Przebywało się rzekę pierwszy raz w dziesięć minut po wyjściu z domu, kładką zwaną Stary Most. Zaraz na drugi dzień po naszym przyjeździe, w dzień Wielkiej Nocy, po kazaniu, jeżeli było ładnie, pędziłem tam, aby po zamęcie świątecznego poranka, kiedy uroczyste przygotowania tym bardziej uwydatniają szpetotę walających się jeszcze sprzętów gospodarskich, spojrzeć na rzekę. Już przechadzała się w błękitach między czarnymi jeszcze i nagimi brzegami, jedynie w towarzystwie zgrai prymulek przybyłych zbyt szybko oraz za wczesnych pierwiosnków, podczas gdy tu i ówdzie fiołek o niebieskim dzióbku zginał łodygę pod ciężarem kropli zapachu, którą dźwigał w swoim różku. Stary Most wychodził na ścieżkę, wytapetowaną w tym miejscu w lecie niebieskimi liśćmi orzecha, pod którym rozsiadł się rybak w słomkowym kapeluszu. W Combray, gdzie wiedziałem, jaka osobowość — kowala czy chłopca sklepowego — kryje się pod uniformem szwajcara lub komeżką ministranta, rybak ten był jedyną postacią, której tożsamości nigdy nie mogłem ustalić. Musiał znać moich rodziców, bo uchylał kapelusza, kiedyśmy przechodzili; chciałem wówczas spytać go o nazwisko, ale dawano mi znak, abym milczał i nie straszył ryby. Wędrowaliśmy ścieżką biegnącą nad strumieniem, po skarpie na kilka stóp wysokiej; z drugiej strony brzeg był niski, rozpościerał się rozległymi łąkami aż do miasteczka i do dość odległego dworca kolei. Łąki te były usiane na wpół zagrzebanymi w trawie resztkami zamku dawnych hrabiów Combray, któremu w średnich wiekach łożysko Vivonne służyło od tej strony za obronę przeciw napadom panów na Guermantes i opatów Martinville. Były to już tylko jakieś szczątki wież wzdymające łąkę, ledwie widoczne; jakieś blanki, skąd niegdyś kusznik miotał kamienie, skąd czatownik śledził Novepont, Clairefontaine, Martinville-le-Sec, Bailleau-l'Exempt, wszystkie lenna Guermantes, którymi Combray było okolone, dziś zrównane z ziemią, opanowane przez uczniów szkoły klasztornej, którzy przychodzili tam uczyć się lekcji lub bawić się na pauzie; — przeszłość niemal skryta pod ziemią, rozciągnięta nad rzeką niby letnik zażywający chłodu, ale dająca mi wiele do myślenia; sprawiająca, iż pod nazwą Combray wyrastał dla mnie obok dzisiejszego miasteczka gród bardzo odmienny; przeszłość przykuwająca moje myśli swoją niezrozumiałą i antyczną twarzą, na wpół skrytą pod jaskrami. Jaskrów było mnóstwo w tym miejscu, które wybrały na swoje igraszki w trawie; samotne, parami, kępkami, żółte jak żółtko od jajka, tym świetniejsze w moich oczach, ile że rozkosz płynąca z ich widoku — nie mogąc jej skojarzyć z żadną gastronomiczną zachcianką — skupiałem na ich złocistej powierzchni, aż się ta rozkosz stała dość silna, aby zrodzić bezużyteczne piękno. Tak było od mego najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy ze ścieżki wyciągałem ręce ku tym jaskrom, nie umiając dobrze wymówić ładnego imienia owych książąt z bajki, przybyłych może przed wiekami z Azji, ale zadomowionych na zawsze na wsi, zadowolonych ze skromnego horyzontu, kochających słońce i brzeg rzeki,

wiernych ubogiemu widokowi dworca, zachowujących wszelako jeszcze — jak niektóre nasze stare obrazy — przy swojej ludowej prostocie poetyczny odbłask Wschodu.

Lubiłem patrzeć na karafki, które chłopcy zanurzali w Vivonne, aby łapać małe rybki. Wypełnione rzeką i nią nawzajem objęte, zarazem „zawierające”, o ścianach przezroczystych jak stwardniała woda i „zawarte”, zanurzone w większym, „zawierającym” z płynnego i bieżącego kryształu, budziły one obraz chłodu rozkoszniejszy i bardziej drażniący niż gdyby się znalazły na nakrytym stole; obraz jawiący się tylko przelotnie, w owej nieustannej aliteracji między wodą bez konsystencji, nieuchwytną dla rąk i szkłem bez płynności, nieujęty dla podniebienia. Obiecywałem sobie wrócić tam z wędką; wypraszałem, aby dobyto nieco chleba z podwieczorkowych zapasów; rzucałem do Vivonne kulki, które zdawały się wywoływać objaw przesylenia, woda bowiem tężała natychmiast dokoła w jajowatych gronach zgłodniałych kijanek, które dotąd trzymała zapewne w roztworze, niewidzialne, dojrzałe do krystalizacji.

Niebawem bieg Vivonne tamują rośliny wodne. Najpierw odosobnione; jakiś nenufar niepokojony prądem, w poprzek którego się nieszczęśliwie ulokował. Niby mechanicznie poruszany prom nenufar ów dobijał jednego brzegu po to, aby wrócić do drugiego, wiekuiście powtarzając tę dubeltową przeprawę. Parta ku brzegowi łodyga jego rozwijała się, wydłużała, pomykała, dosięgała ostatnich granic swej rozpiętości u brzegu, gdzie prąd ją chwycił, wówczas zielona lina związała się sama i sprowadzała biedną roślinę do tego, co można nazwać jej „punktem wyjścia”, gdyż nie pozostając tam ani sekundy, rozpoczynała na nowo tę samą czynność. Odnajdywałem ją za każdym spacerem, zawsze w tym samym położeniu, nasuwającą myśl o pewnych neurastenikach, do których dziadek zaliczał ciocię Leonię. Tacy ukazują nam bez zmiany w ciągu lat pasmo swoich dziwacznych przyzwyczajzeń, z których za każdym razem myślą się otrząsnąć, a które zachowują zawsze; wzięci w tryby swoich udręczeń i manii, wysiłkiem daremnych szamotań utrwalają jedynie ich funkcjonowanie i wprawiają w ruch mechanizm swoich osobliwych, nieuchwytnych i zgubnych nawyków. Taki był ów nenufar, podobny również jednemu z owych nieszczęśliwych, których cierpienie, powtarzające się nieskończenie w ciągu wieków, budziło ciekawość Danta<sup>21</sup>, tak iż poeta kazałby samemu pacjentowi obszerniej opowiedzieć sobie właściwości i przyczynę męki, gdyby Wirgiliusz, oddalając się wielkim krokiem, nie był go pociągnął za sobą, jak mnie moi rodzice.

Ale później prąd słabnie, rzeka przebywa otwartą dla publiczności posiadłość, której właściciel lubował się w ogrodnictwie wodnym, hodując w małych jeziorkach tworzonych przez Vivonne istne ogrody lili wodnych. Ponieważ brzegi były w tej okolicy bardzo zadrzewione, wielkie cienie drzew dawały wodzie dno, zazwyczaj ciemnozielone; ale czasami, kiedyśmy wracali w jakiś wypogodzony wieczór burzliwego popołudnia, bywało ono jasnoblękitne i jaskrawe, przechodziło w fiolet o tonie japońskiej emalii. Tu i ówdzie, na powierzchni czerwieniał niby truskawka kwiat lili wodnej o szkarłatnym sercu i białych brzegach. Dalej liczniejsze kwiaty były bledsze, mniej gładkie, bardziej ziarniste, bardziej pomarszczone, rozrzucone w zwojach tak wdzięcznych, iż zdawało się, że to rozplecione girlandy pienistych róż spływają z wodą.

W innym kącie rosły pospolitsze gatunki, o schludnych białych i różowych barwach maciejki, wymyte starannie jak porcelana, gdy nieco dalej kwiaty tłoczyły się jak istna pływająca grządka, rzekłbyś bratki ogrodowe, które złożyły niby motyle swoje sine glansowane skrzydła na przejrzystej pochyłości wodnego kwietnika będącego zarazem kwietnikiem niebieskim: dawał bowiem kwiatom grunt o barwie rzadszej, bardziej wzruszającej niż kolor samych kwiatów; i czy to w ciągu popołudnia lśnił się pod wodnymi liliami kalejdoskopem uważnego, milczącego i ruchomego szczęścia; czy napełniał się pod wieczór, niby jakiś odległy port, różaną zadumą zachodu, mieniając się co chwila, aby dokoła kielichów o stalszych barwach wciąż być w harmonii z tym, co jest w owej godzinie najgłębszego, najbardziej ulotnego, tajemniczego — nieskończonego — zdawało się, że te kwiaty rozkwitają na pełnym niebie.

Opuściwszy park, Vivonne znów przyspiesza biegu. Ileż razy widziałem — pragnąc go naśladować, kiedy będę mógł żyć wedle upodobania — wiosłarza, który, porzuciwszy wiosło, położył się na wznak na dnie łodzi i pozwalając jej płynąć z prądem, widząc

<sup>21</sup>Danta — dziś popr.: Dantego. [przypis edytorski]

tylko niebo przepływające nad nim z wolna, miał na swojej twarzy przedsmak szczęścia i spokoju.

Siadaliśmy wśród irysów nad wodą. Na świątecznym niebie wędrowała z wolna leniwa chmura. Chwilami nękania nudą karp wychylał się z trwożnym oddechem. Była to godzina podwieczorku. Nim ruszyliśmy dalej, zasiadywaliśmy się długo na trawie, zajadając owoce, chleb i czekoladę, podczas gdy dochodziły nas horyzontalne, zwątlone, ale gęste jeszcze i metaliczne dźwięki dzwonu św. Hilarego: niez mieszane z powietrzem, które przebiegały tak długo, żłobione kolejną wibracją wszystkich swoich dźwięcznych linii, drgały, ocierając się o kwiaty u naszych stóp.

Czasem na brzegu okolonym drzewami spotykaliśmy jakiś dworek „dla letników”, samotny, odludny, niewidzący ze świata nic prócz rzeki, która opływała jego stopy. Młoda kobieta, której zamyślane rysy i wykwiniony woal wyraźnie nie były tutejsze, przybyła z pewnością, wedle utartego wyrażenia, „zagrzebać się” tam, kosztować owej gorzkiej przyjemności, że jej imię, imię zwłaszcza tego, którego serca nie umiała zatrzymać, są tam nieznane. Stawała w oknie niby w ramie niepozwalającej jej patrzeć dalej niż na łódkę umocowaną niedaleko furtki. Podnosiła z roztargnieniem oczy, słysząc za drzewami głosy przechodzących; nim jeszcze ujrzała ich twarze, mogła być pewna, że nigdy nie znali ani nie poznają niewiernego, że nic w ich przeszłości nie nosi jego śladu, że nic w ich przyszłości nie będzie go nosiło. Czuło się, że dobrowolnie opuściła strony, gdzie mogłaby bodaj widzieć swego ukochanego, wybraawszy w cichej rezygnacji okolice, która nie oglądała go nigdy. I ja patrzałem na nią, wracając ze spaceru drogą, którą — wiedziała o tym — on nie będzie nigdy szedł; patrzałem, jak z osmuconych rąk zdejmuje długie rękawiczki o bezużytecznym wdzięku.

Nigdy, puszczając się w stronę Guermites, nie mogliśmy dotrzeć do źródeł Vivonne, o których często myślałem i które miały dla mnie istotność tak oderwaną, tak idealną, że kiedy mi powiedziano, iż znajdują się w naszym departamencie, o ileś tam kilometrów od Combray, uczułem się równie zdziwiony, co w dniu, kiedy się dowiedział o innym dokładnym punkcie ziemi, gdzie otwierało się w starożytności wejście do Piekieł. Nigdy również nie mogliśmy zejść do kresu, do którego tak byłbym pragnął dotrzeć, do samego Guermites. Wiedziałem, że tam rezydują właściciele, księstwo de Guermites; wiedziałem, że to są osoby realne i istniejące; ale za każdym razem, kiedy o nich myślałem, wyobrażałem ich sobie to jako gobelin — na wzór hrabiny de Guermites w *Koronacji Estery* w naszym kościele — to w mieniących się barwach Gilberta Złego na witrażu, który przechodził od koloru kapuścianego do śliwkowego, wedle tego, czym dopiero maczał palce w kropielnicy, czym już dochodził do ławki; to zupełnie nieuchwytnie jak obraz Genowefy Brabanckiej, protoplastki rodu Guermites, którą latarnia czarnoksiężka wodziła po frankach w moim pokoju lub rzucała na sufit; — słowem, wyobrażałem ich sobie zawsze spowitych tajemnicą epoki Merowingów i skąpanych niby w zachodzie słońca w pomarańczowym świetle wylaniającym się z owej sylaby „antes”. Ale jeżeli mimo to byli oni dla mnie, jako książę i księżna, istotami rzeczywistymi, jakkolwiek niezwykłymi, w zamian za to ich osobowość książęca rozciągała się bezkresnie, odmaterializowywała się, aby móc zawrzeć w sobie owo Guermites, którego byli księciem i księżną, całą „stronę Guermites” skąpaną w słońcu, bieg Vivonne, lilie wodne i wielkie drzewa, i tyle pięknych popołudni. I wiedziałem, że nie tylko noszą tytuły diuka i diuszesy de Guermites, ale że od XIV wieku, gdy spróbowawszy daremnie zwyciężyć swoich dawnych panów, spokrewnili się z nimi przez małżeństwa, są hrabiami Combray, tym samym pierwszymi obywatelami Combray, a mimo to jedynymi, którzy w nim nie mieszkają. Hrabowie de Combray posiadający Combray w sercu swego tytułu, swojej osoby, kryjący z pewnością w sobie ów dziwny i pobożny smutek, swoisty dla Combray; właściciele miasta, ale nie jakiegoś poszczególnego domu, mieszkający zapewne w przestrzeni, na ulicy, między niebem a ziemią, jak ów Gilbert z Guermites, którego oglądałem w witrażach absydy św. Hilarego jedynie jako tafle czarnej laki, kiedy podniosłem głowę idąc po sól do Camusa.

Zdarzało się, że idąc w stronę Guermites przechodziłem czasami koło małych wilgotnych zagród obrośniętych pękami ciemnych pnączy. Zatrzymywałem się, sądząc, że nabędę jakiejś cennej wiadomości, bo mi się zdawało, że mam przed oczami fragment owej strefy nadwodnej, którą tak pragnąłem znać od czasu, jak ją odkryłem w jednym ze swoich ulubionych pisarzy. Z ową strefą, z jej wyrojonym obszarem przeciętym pienisty-

mi strumieniami utożsamiało się Guermantes, zmieniło w mojej wyobraźni postać, odkąd usłyszałem doktora Percepied, jak nam opowiadał o pięknych kwiatach i strumieniach w parku zamkowym. Marzyłem, że pani de Guermantes w nagłym porywie sympatii zaprasza mnie i cały dzień łowi ze mną pstrągi. A wieczorem, trzymając mnie za rękę, przechodząc koło ogrodów swoich wasalów, pokazuje mi wzdłuż niskich murów kwiaty wspierające o mur swoje fioletowe i czerwone kądziele i objaśnia mi ich nazwy. Każę sobie opowiadać treść poematów, które miałem zamiar tworzyć. I te marzenia ostrzegaly mnie, że skoro kiedyś chcę zostać pisarzem, czas byłby wiedzieć, co mam pisać. Ale z chwilą, kiedy pytałem o to sam siebie, starając się znaleźć temat, w którym mógłbym zawrzeć rozległy sens filozoficzny, myśl moja przestawała działać. Wytężając całą uwagę, widziałem przed sobą pustkę; czułem, że nie mam talentu lub może choroba umysłowa nie pozwalała mu się narodzić.

Czasem liczyłem na ojca, że jakoś to urządzi. Był tak potężny, tak dobrze widziany u ludzi wpływowych, że zdarzało mu się ominąć dla nas prawa, które Franciszka nauczyła mnie uważać za niezłomniejsze od praw życia i śmierci — jak np. opóźnić dla naszego domu, jedyne w całej dzielnicy, o cały rok obowiązek tynkowania; uzyskać dla syna pani Sazerat, wybierającej się do wód, przywilej zdawania matury o dwa miesiące wcześniej, w serii kandydatów zaczynających się na A, zamiast żeby czekał kolei S. Gdybym ciężko zachorował, gdyby mnie porwali bandyci, wówczas przekonany, że ojciec ma zbyt wiele wpływu u najwyższych potęg, zbyt nieodparte listy polecające do Pana Boga, aby moja choroba lub uwięzienie mogły być czymś innym niż cczą i niegroźną komedią, czekałbym spokojnie nieuchronnego i szczęśliwego obrotu, godziny oswobodzenia lub wyzdrowienia. Może ten brak talentu, ta czarna dziura ziejąca w moim mózgu, kiedy szukałem tematu do przyszłych utworów, jest również tylko bezpodstawnym złudzeniem, które pierzchnie dzięki interwencji ojca; musiał to ułożyć z rządem i z opatrnością, że ja będę pierwszym pisarzem swojej epoki. Ale innym razem, podczas gdy rodzice niecierpliwi się, że zostają w tyle i nie podążam za nimi, moje obecne życie, zamiast mi się wydawać sztucznym tworem ojca, mogącego je zmieniać wedle ochoty, wydawało mi się przeciwnie czymś określonym rzeczywistością, która nie jest stworzona dla mnie, wobec której nie ma protestu, w której łonie nie posiadam sprzymierzeńca i która nie kryje nic poza nią samą. Zdawało mi się wówczas, że istnieję w taki sam sposób jak inni ludzie; że się zestarzeję, umrę jak oni i że po prostu tylko należę do tych, którzy nie mają talentu. Toteż zniechęcony wyrzekałem się na zawsze literatury, mimo zachęty, jakiej mi nie szczędził Bloch. To wewnętrzne, bezpośrednie poczucie własnej nicości przeważało wszystkie pochlebne słowa, jakie mi się zdarzało słyszeć, tak jak wyrzut sumienia nurtuje złego człowieka, podczas gdy wszyscy chwalą jego dobre uczynki.

Pewnego dnia matka powiedziała mi: „Mówisz wciąż o pani de Guermantes; otóż, ponieważ doktor Percepied bardzo umiejętnie leczył ją przed czterema laty, księżna ma przyjechać do Combray na ślub jego córki. Będziesz ją mógł widzieć w kościele”. Od tego doktora Percepied najczęściej słyszałem o pani de Guermantes; pokazywał nam nawet numer ilustrowanego pisma z jej fotografią w stroju, który miała na balu kostiumowym u księżnej de Léon.

Naraz w czasie mszy weselnej ruch szwajcara, który usunął się na bok, pozwolił mi ujrzeć w kaplicy blondynkę z dużym nosem, bystrymi niebieskimi oczami, w gładkim, nowym i lśniącym jedwabnym fontaziu lila, z małym pryszczkiem u nasady nosa. I ponieważ na powierzchni jej czerwonej twarzy (musiało jej być bardzo gorąco) rozróżniałem — rozcieńczone i ledwo dostrzegalne — cząsteczki podobieństwa z portretem, który mi pokazywano; ponieważ zwłaszcza poszczególne rysy, gdy próbowałem je określić, wyrażały się ściśle w tych właśnie terminach (duży nos, niebieskie oczy), którymi się posłużył doktor Percepied, opisując księżnę, powiedziałem sobie: ta dama podobna jest do pani de Guermantes. Dalej: kaplica, w której owa dama słuchała mszy, to była kaplica Gilberta Złego, pod której płaskimi grobowcami, złożonymi i rozdętymi niby komórki z miodem, spoczywali dawni książęta brabancy. Dalej: przypomniałem sobie, że słyszałem, iż kaplica ta jest zastrzeżona dla rodziny Guermantes, kiedy któryś z jej członków przybywa na nabożeństwo do Combray; prawdopodobnie mogła istnieć tylko jedna kobieta podobna do portretu pani de Guermantes znajdująca się tam, w tej kaplicy, w dniu, w którym księżna miała właśnie przybyć: to jest ona!



Rozczarowanie moje było wielkie. Pochodziło ono stąd, że myśląc o pani de Guermantes, nigdy się nie zastanawiałem, że ją sobie wyobrażam w barwach gobelinu lub witrażu, w innej epoce, z innej materii niż reszta żyjących osób. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że może mieć czerwoną twarz, fontaż lila jak pani Sazerat; a owal jej twarzy tak bardzo mi przypominał osoby widywane w domu, że musnęło mnie podejrzenie — przelotne zresztą — iż owa dama w swojej zasadniczej istocie, we wszystkich swoich drobinach, nie jest może jako substancja księżną de Guermantes, ale że jej ciało nieświadome nazwiska, które nosi, należy do pewnego typu kobiecego, obejmującego również żony lekarzy i kupców. „Więc to tylko tyle, pani de Guermantes!”, powiadała uważna i zdumiona mina, z jaką patrzyłem na ten obraz, oczywiście niemający żadnego związku z tymi, które pod tym samym mianem *pani de Guermantes* jawiły się tylekroć w moich snach. Obraz ten nie był jak tamte samowładnie stworzony przeze mnie, ale skoczył mi do oczu pierwszy raz dopiero przed chwilą, w kościele; nie był tej samej przyrody, nie dał się barwić do woli jak tamte, które pozwalały się napoić pomarańczowym kolorem czarodziejskiej sylaby; ale był tak realny, że wszystko — nawet ten mały pryszczek czerwieniący się w kąciку nosa — stwierdzało jego podległość prawidłom życia. Tak w teatralnej apoteozie falowanie sukni wróżki, drżenie jej małego palca zdradzają obecność żywej aktorki tam, gdzie nie byliśmy pewni, czy nie mamy przed oczami czystej projekcji świetlnej.

Ale równocześnie na tym obrazie, który przenikliwe oczy księżnej i jej wydatny nos przyszpilały do mojej wizji (może dlatego, że ten nos i te oczy najpierw dosięgły ową wizję, uczyniły w niej pierwszą rysę, w chwili gdy nie miałem jeszcze czasu pomyśleć, że kobieta, którą mam przed sobą, może być panią de Guermantes), na tym obrazie świeżym, nieodmiennym, próbowałem pomieścić myśl: „To jest pani de Guermantes”. Ale mogłem jedynie manipulować tym pojęciem na zewnątrz obrazu; były to niby dwie tarcze oddzielone przestrzenią. W zamian owa pani de Guermantes, o której tak często marzyłem, teraz, kiedy widziałem, że istnieje faktycznie poza mną, nabrała jeszcze większej władzy nad moją wyobraźnią; przez chwilę sparaliżowana zetknięciem z rzeczywistością tak różną od moich oczekiwań, wyobraźnia ta zaczęła teraz reagować, szepcząc mi: „Okryci chwałą przed epoką Karola Wielkiego, Guermantowie mieli prawo życia i śmierci nad swymi wasalami; księżna de Guermantes pochodzi od Genowefy Brabanckiej. Nie zna tutaj i nie raczyłaby znać żadnej z obecnych osób”.

I oto cudowna niezależność spojrzeń ludzkich przywiązanych do twarzy nicią tak luźną, tak długą, tak rozciągliwą, że mogą się przechadzać same z dala od niej! Podczas gdy pani de Guermantes siedziała w kaplicy nad grobami swoich zmarłych, spojrzenia jej błędziły tu i tam, pięły się po filarach, zatrzymywały się nawet na mnie niby promień słońca wędrujący po nawie, ale promień słońca, który w chwili, gdym uczuł jego pieszczotę, wydał mi się świadomy. Co się tyczy samej pani de Guermantes, ponieważ pozostała nieruchoma, siedząc niby matka, gdy zdaje się nie widzieć psot i natręctwa swoich dzieci zaczepiających wśród zabawy osoby, których ona nie zna, niepodobna mi było zgadnąć, czy ona w beczynności swojej duszy pochwała czy potępia włóczęgę swoich spojrzeń.

Pragnąłem bardzo, aby nie wyszła z kościoła, nim się jej będę mógł napatrzeć do woli; przypominałem sobie bowiem, że od wielu lat uważałem jej widok za coś nieskończenie upragnionego. Nie odrywałem od niej oczu, jak gdyby każde moje spojrzenie mogło dosłownie unieść i zachować we mnie obraz wydatnego nosa, czerwonych policzków, wszystkich szczegółów, które mnie uderzały niby cenne, autentyczne i osobliwe dokumenty jej twarzy. Teraz owa twarz wydawała mi się piękna dzięki pojęciom, jakie z nią łączyłem, może zwłaszcza dzięki owej wrodzonej nam chęci niedoznania zawodu, będącej jakby instynktem samozachowawczym najlepszej części naszej istoty. Znów — skoro ona i owa księżna de Guermantes obecna dotąd w mojej wyobraźni były jedną i tą samą osobą — mieściłem ją poza resztą ludzkości, w którą proste życie jej ciała kazało mi ją na chwilę wmieszać; drażniło mnie, że słyszę dokoła: „Ładniejsza jest niż pani Sazerat, niż panna Vinteuil”, jak gdyby można było ją z nimi porównywać! I spojrzenia moje zatrzymywały się na jej blond włosach, na niebieskich oczach, na liniach jej szyi; omijając rysy, które mogły mi przypomnieć inne twarze, wykrzykiwałem przed tym rozmyślnie niekompletnym szkicem: „Jaka ona piękna! Co za szlachetność! Mam przed sobą prawdziwą dumną Guermantes, wnuczkę Genowefy Brabanckiej!”. I skupienie, jakim oświecałem jej twarz, wyodrębniało ją tak, że dziś, kiedy wspomnę tę uroczystość, niepodobna mi

ujrzeć nikogo z obecnych poza nią i poza szwajcarem, który odpowiedział twierdząco, kiedym go spytał, czy owa dama jest panią de Guermantes. Ale ją samą widzę; zwłaszcza w chwili defilady w zakrystii, którą oświetlało niepewne i gorące słońce owego wietrznego i burzliwego dnia, gdy pani de Guermantes znalazła się pośród wszystkich tych mieszkańców Combray. Nie знаła nawet ich nazwisk, ale niższość ich zbyt dobitnie stwierdzała jej przewagę, aby nie miała dla nich odczuć szczerzej życzliwości, spodziewając się zresztą tym bardziej zaimponować im uprzejmością i prostotą. Nie mogła na nich zwracać owych spojrzeń świadomych, naładowanych określonym sensem, którymi się darzy osoby znajome; pozwalając tedy swoim roztargnionym myślom tryskać strumieniem błękitnego blasku, którego nie mogła powstrzymać, nie chciała, aby ten blask mógł onieśmielać, aby się mógł wydać wzgardliwy drobnym ludziom, których spotykał po drodze, których dosięgał co chwila. Widzę jeszcze nad jedwabistym i sutym fontaziem lila słodkie zdziwienie jej oczu, któremu przydała — nie śmiejąc go przeznaczyć dla nikogo, ale tak aby wszyscy mogli w nim mieć swój udział — na wpół nieśmiały uśmiech udzielnej pani, która niejako usprawiedliwia się przed swymi wasalami i kocha ich. Ten uśmiech spadł na mnie, niespuszczającego z niej oczu. Wówczas przypominając sobie owo spojrzenie, któremu pozwoliła musnąć mnie w czasie mszy, niebieskie jak promień słońca, gdy przesywa witraż Gilberta Złego, powiedziałem sobie: „Ależ z pewnością ona mnie zauważyła”. Myślałem, że się jej spodobał, że będzie jeszcze myślała o mnie, skoro wyjdzie z kościoła, że z mojego powodu będzie może smutna wieczorem w Guermantes i natychmiast pokochałem ją, bo jeżeli czasem dla pokochania kobiety wystarczy, że na nas popatrzy ze wzgardą — jak w moim pojęciu zrobiła panna Swann — i że myślimy, iż nigdy do nas nie będzie mogła należeć, czasem znowu wystarczy, że na nas spojrzy z dobrocią, jak to uczyniła pani de Guermantes, i że myślimy, iż będzie mogła do nas należeć. Jej oczy błękitniały jak barwinek niemożliwy do zerwania, a jednak przeznaczony dla mnie; a słońce zagrożone chmurą, ale prażące jeszcze całą siłą na rynku i w zakrystii, dawało karnację geranii rozłożonym na tę uroczystość czerwonym dywanom, po których posuwała się z uśmiechem pani de Guermantes; dawało ich wełnie różowy puszek niby naskórek świetlny i jakąś tkliwość, jakąś poważną słodycz w pompie i w radości, charakterystyczne dla niektórych ustępów z Lohengrina, dla niektórych płócien Carpaccia, coś co pozwala zrozumieć, że Baudelaire mógł dać dźwiękowi trąby epitet „rozkoszny”.

O ileż od owego dnia w spacerach moich w stronę Guermantes wydało mi się jeszcze boleśniejsze niż dawniej nie mieć talentu i musieć się na zawsze wyrzec pisarskiej sławy! Żał, jakim mnie to przejmowało wówczas, gdy zostawiałem sam, marząc trochę na uboczu, przyprowadził mnie o takie cierpienie, że, aby go nie czuć dłużej, duch mój — sam z siebie, przez rodzaj samoobrony wobec bólu — zaprzestawał całkowicie myśleć o wierszach, o powieściach, o przyszłości poetyckiej, na którą mój brak talentu zabraniał mi liczyć. Wówczas całkiem poza tymi zainteresowaniami i nie wiążąc się z nimi niczym, nagle jakiś dach, blask słońca na kamieniu, zapach przydrożny kazały mi się zatrzymać dla osobliwej przyjemności, jaką mi dawały; zdawało mi się zarazem, iż poza tym, co widzę, kryją one coś, do czego mnie zapraszają i czego mimo wysiłków nie mogę odkryć. Ponieważ czułem, że to znajduje się w nich, stałem w miejscu, nieruchomy, patrząc, oddychając, starając się wyjść myślą poza obraz lub zapach. I jeżeli mi trzeba było dogonić dziadka, iść dalej, starałem się odnaleźć je, zamykając oczy, siłęm się przypomnieć sobie dokładnie linię dachu, barwę kamienia, które — nie umiałem powiedzieć czemu — zdawały mi się przez chwilę pełne, gotowe się rozchylić, wydać mi to, czego były jedynie pokrywą. Z pewnością tego rodzaju wrażenia nie mogły mi wrócić nadziei zostania kiedyś pisarzem i poetą, bo były zawsze związane z poszczególnym przedmiotem, pozbawionym wartości intelektualnej i nieskojarzonym z żadną oderwaną prawdą. Ale przynajmniej dawały mi przyjemność niewyrozumowaną, złudzenie jakiejś płodności i tym samym wyrwały mnie nudzie, poczuciu własnej bezsilności, jakiego doznawałem za każdym razem, kiedym szukał filozoficznego tematu do wielkiego literackiego dzieła. Ale uczucie obowiązku, który mi nakładały owe wrażenia kształtu, zapachu lub barwy, kazało mi dotrzeć do tego, co się kryje za nimi, było tak ciężkie, że rychło zacząłem szukać wymówek, które by mi pozwoliły umknąć się tym wysiłkom i oszczędzić sobie mozół.

Na szczęście rodzice wołali mnie; czułem, że nie mam w danej chwili potrzebnego spokoju, aby skutecznie wieść dalej swoje poszukiwania; że lepiej nie myśleć już o tym

aż do powrotu i nie męczyć się z góry bez rezultatu. Zaczem nie zajmowałem się już ową rzeczą nieznaną, która spowijała się w kształt albo w zapach; czułem się spokojny, ponieważ zabierałem ją do domu pod płaszczem obrazów, gdzie odnajdę ją żywą jak owe ryby, które w dni, kiedy mi pozwolono iść z wędką, przynosiłem w koszyku pod warstwą trawy zapewniającą im chłód. Znalazłszy się w domu, myślałem o czym innym i w ten sposób gromadziły się w mojej duszy (tak jak w moim pokoju kwiaty zerwane na przechadzce lub przedmioty otrzymane od kogoś) kamień, na którym igrało światło, dach, dźwięk dzwonu, zapach liści, wiele rozmaitych obrazów kryjących dawno już umarłą przeczucwaną rzeczywistość, na której odkrycie nie starczyło mi woli.

Pewnego razu, kiedy nasza wyprawa przeciągnęła się wyjątkowo długo, spotkaliśmy nad wieczorem, ku wielkiej naszej radości, doktora Percepied pędzącego powozem; poznał nas i wziął nas z sobą. Wówczas doznałem takiego właśnie wrażenia, ale nie poniechałem go tym razem, nie zgłębiwszy go po trosze. Posadzono mnie koło woźnicy; jechaliśmy jak wiatr, bo doktor miał jeszcze przed powrotem do Combray wstąpić w Martinville-le-Sec do chorego; umówiliśmy się, że zaczekamy nań u bramy. Na zakręcie uczułem nagle ową osobliwą przyjemność niepodobną do żadnej innej; a uczułem ją, widząc dwie wieże kościoła w Martinville oświetlone zachodzącym słońcem, przy czym ruch powozu i zakręty drogi kazały im jak gdyby zmieniać miejsce; następnie wieżę w Vieuxvicq, która, oddzielona od nich pagórkami i doliną, położona na płaskowyżu w oddali, zdawała się wznosić tuż obok tamtych.

Stwierdzając i notując kształt ich iglic, przesuwanie się ich konturów, osłonecznienie ścian, czułem, że nie dochodzę do krańca swoich wrażeń, że jest coś poza tym ruchem, poza tą jasnością, coś, co niejako zawierają i kryją zarazem.

Wieże wydawały się tak odległe i na pozór tak mało zbliżaliśmy się do nich, że zdziwiłem się, kiedy w chwilę potem zatrzymaliśmy się przed kościołem w Martinville. Nie znałem przyczyn rozkoszy, jakiej doznałem wprzód, widząc je na horyzoncie, a przymus dociekania tych przyczyn zdawał mi się bardzo uciążliwy; miałem ochotę zachować w głowie owe linie poruszające się w słońcu i nie myśleć już o nich teraz. I prawdopodobne jest, że gdybym to był uczynił, owe dwie wieże byłyby się na zawsze połączyły z tyłoma drzewami, dachami, zapachami, dźwiękami, którem odróżniał od innych dla owej tajemnej i nigdy przeze mnie niezgłębianej rozkoszy. Zeszedłem porozmawiać z rodzicami, czekając na doktora. Potem ruszyliśmy dalej, siadłem z powrotem na kozioł, obróciłem głowę, aby widzieć jeszcze wieże, które nieco później ujrzałem na zakręcie ostatni raz. Woźnica, widocznie nieusposobiony do rozmowy, ledwie odpowiadał na moje przygadanki; trzeba mi było z braku innego towarzystwa poprzestać na własnym i próbować przypominać sobie swoje wieże. Niebawem ich kontury i ich słoneczne ściany rozdarły się, jak gdyby były czymś w rodzaju kory; coś z tego, co mi w nich było zakryte, objawiło mi się; uczułem myśl, która nie istniała dla mnie chwilę przedtem, skryształizowaną w słowach w mojej głowie. Rozkosz, którą dał mi przed chwilą widok tych wież, wzmogła się tak, że jakby w upojeniu nie mogłem już myśleć o niczym innym. Byliśmy już daleko od Martinville, kiedy odwracając głowę, ujrzałem je na nowo, tym razem całkiem czarne, bo słońce tymczasem zaszło. Chwilami na zakrętach chowały mi się; potem ukazały się ostatni raz — w końcu nie ujrzałem ich więcej.

Nie uświadamiałem sobie, że to, co było ukryte za wieżami w Martinville, musi być czymś pokrewnym pięknemu zdaniu, skoro objawiło mi się w postaci słów, które mi sprawiły przyjemność; ale poprosiłem doktora o papier i ołówek; po czym aby ulżyć sumieniu i poddać się swemu zachwytowi, ułożyłem mimo wstrząsów powozu następujący drobiazg. Odnalazłem go później i niewiele potrzebowałem w nim zmienić:

„Samotne, wyrastające z równiny i jakby zgubione w pustce, wznosiły się ku niebu dwie kościelne wieże w Martinville. Niebawem ujrzelśmy ich trzy: stając na wprost nich śmiałym zwrotem, przyłączyła się do nich zapóźniona wieża z Vieuxvicq. Chwile mijały, jechaliśmy szybko, mimo to trzy wieże wciąż były daleko przed nami, niby trzy ptaki siedzące na równinie, nieruchome i widoczne w słońcu. Potem wieża z Vieuxvicq odsunęła się i cofnęła; wieże w Martinville zostały same, oświetlone blaskiem zachodu; nawet na tę odległość widziałem, jak ten blask się uśmiecha i igra na ich ścianach. Tak wolno zbliżaliśmy się do nich, że obliczałem, ile czasu upłynie, zanim je osiągniemy, kiedy nagle powóz skręcił i złożył nas u ich stóp; rzuciły się tak gwałtownie naprzeciw nam, że stangret

ledwie miał czas zatrzymać, aby nie uderzyć o kruchę. Jechaliśmy dalej; już od dobrej chwili opuściliśmy Martinville, wioska towarzysząca nam przez kilka sekund znikła, kiedy, zostawszy same na widnokręgu i patrząc na naszą ucieczkę, wszystkie trzy wieże poruszały jeszcze na znak pożegnania słonecznymi wierzchołkami. Czasem jedna usuwała się, aby dwie inne mogły nas dojrzeć jeszcze przez chwilę; ale droga zmieniła kierunek, wieże zakreśliły się w świetle niby trzy złote osie i znikły mi z oczu. Nieco później, kiedyśmy byli koło Combray, a słońce już zaszło, spostrzegłem je ostatni raz z bardzo daleka; były niby trzy kwiaty wymalowane na niebie ponad niską linią pól. Nasunęły mi też myśl o trzech dziewczętach z legendy, porzuconych w pustce, gdzie już zapadał mrok; i podczas gdyśmy się oddalali galopem, widziałem je, jak trwożliwie szukają drogi, jak po kilku niezręcznych potknięciach się, ich szlachetne sylwetki tulą się wzajem do siebie, zasuwały się jedna za drugą, tworzą na różowym jeszcze niebie już tylko jeden kształt czarny, uroczy i pełen rezygnacji i gubią się w ciemności”.

Nie myślałem nigdy o tym urywku, ale w owej chwili, kiedy siedząc na koźle w miejscu, gdzie zazwyczaj woźnica stawiał w koszyku drób kupiony na targu w Martinville, skończyłem go pisać, czułem się tak szczęśliwy! Czułem, że mnie on tak doskonale uwolnił od tych wież i od tego, co się kryło poza nimi! I jak gdybym ja sam był kurą i zniósł jajko, zacząłem śpiewać na całe gardło.

Przez cały dzień w czasie tych spacerów mogłem marzyć o rozkoszy, jaką byłoby zostać przyjacielem księżnej de Guermantes, łowić pstrągi, jeździć łódką po Vivonne i w swoim głodzie szczęścia nie żądać od życia niczego jak tylko, aby się zawsze układało w szereg szczęśliwych popołudni. Ale w powrotnej drodze spostrzegłem po lewej ręce fermę dość odległą od dwóch innych, położonych bardzo blisko siebie; stąd do Combray była już tylko aleja dębowa, obramiona z jednej strony łąkami. Każda łączka, w równych odstępach obsadzona jabłonią, należała do małej zagrody. Jabłonie te, kiedy je oświecało zachodzące słońce, rzucały na łąkę japoński deseń cieniów. I nagle serce zaczynało mi bić; wiedziałem, że przed upływem pół godziny będziemy z powrotem i że — jak zwykle w dniu „strony Guermantes”, kiedy obiad był później — poślą mnie spać natychmiast po zupie, tak iż mama, zostawszy przy stole tak jak gdyby byli na obiedzie goście, nie przyjdzie mi powiedzieć dobranoc. Strefa smutku, w którą wszedłem, była tak różna od strefy, w którą rzucałem się z radością jeszcze przed chwilą, jak czasem na niebie różowa smuga oddzielona jest niby linią od smugi zielonej lub czarnej. Widzi się ptaka latającego na różowym polu, już sięga krańca, dotyka niemal czarnego tła, potem wsiąkł w nie. Otaczające mnie przed chwilą pragnienia, aby bywać w Guermantes, aby podróżować, aby być szczęśliwym, były mi teraz tak obce, że spełnienie ich nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności. Jakże byłbym chętnie oddał to wszystko, aby móc płakać całą noc w ramionach mamy! Drżałem, nie odrywałem strwożonych oczu od twarzy matki, która nie zjawi się tego dnia w pokoju, gdzie już widziałem się myślą. Byłbym chciał umrzeć. I ten stan miał trwać aż do jutra, kiedy ranne promienie oprą jak ogrodnik swoje pręty na murze strojnym w nasturcję pnące się do mego okna, a ja wyskoczę z łóżka, aby szybko biec do ogrodu, nie pamiętając już, że wieczór ma kiedykolwiek sprowadzić godzinę rozstania się z matką. I w „stronie Guermantes” nauczyłem się rozróżniać owe stany, które następują we mnie kolejno w pewnych okresach tak, że wręcz dzielą między siebie każdy dzień; jeden wraca — z punktualnością febrę — aby wypędzić drugi. Sąsiadują z sobą, ale tak są od siebie odrębne, tak pozbawione komunikacji między sobą, że będąc w jednym stanie, nie mogę już zrozumieć ani nawet sobie wyobrazić tego, czego pragnąłem, obawiałem się lub spełniłem w drugim.

Toteż strona Méséglise i strona Guermantes wiążą się dla mnie z wieloma drobnymi wydarzeniami owego życia, które wśród wszystkich naszych różnorodnych i równoległych żywotów najobfitsze jest w zdarzenia, najbogatsze w przygody: mam na myśli życie intelektualne. Bez wątpienia postępuje w nas ono nieznanie, a odkrycie prawd, które zmieniły nam jego znaczenie i wygląd, które nam otwały nowe drogi, przygotowywaliśmy od dawna, ale bezwiednie; liczą się one dla nas jedynie od dnia, od minuty, w której się nam stały widzialne. Kwiaty, które igrały wówczas na łące, woda która przepływała w słońcu... cały otaczający je krajobraz dalej towarzyszy ich wspomnieniu swoją nieświadomą lub roztargnioną twarzą; i z pewnością ten kącik przyrody, ten skrawek ogrodu uparcie oglądane wzrokiem skromnego przechodnia, marzącego dziecka — tak jak oglą-

da króla pamiętnikarz zgubiony w tłumie — nie przeczuwałyby, że to dzięki niemu dane im będzie przetrwać w ich najbardziej ulotnych zjawiskach; a przecież ten zapach głógów wabiący wzdłuż żywopłotu, gdzie niebawem zastąpi go dzika róża, odgłos kroków bez echa na ścieżce, bańkę utworzoną przez strumień na wodorosie i pękającą natychmiast — wszystko to zachwyt mój uniósł i dał temu przetrwać tyle lat, podczas gdy dokoła drogi się zatarły i pomarli ci, co je deptali i zginęło wspomnienie tych, co je deptali. Czasami ten kawałek pejzażu, doprowadzony w ten sposób aż do dziś, odcina się od wszystkiego tak, że buja niepewnie w mojej myśli, niby kwitnące Delos; i nie mogę powiedzieć, z jakiego kraju, z jakiego czasu — może po prostu z jakiego snu — pochodzi. Ale zwłaszcza muszę myśleć o stronie Méséglise i o stronie Guermantes jak o głębokich pokładach mojego dna duchowego, jak o trwałym gruncie, na którym wspieram się jeszcze. Ponieważ wierzyłem w rzeczy i w osoby, podczas gdy przebiegał te krainy, poznane w nich rzeczy i osoby są jedynymi, które biorę jeszcze serio i które dają mi jeszcze radość. Może wiara, która tworzy, wyszła we mnie, może rzeczywistość kształtuje się tylko w pamięci; dość że kwiaty, które mi ktoś dziś pokazuje po raz pierwszy, nie wydają mi się prawdziwymi kwiatami. Strona Méséglise, jej bzy, jej głogi, bławatki, maki, jabłonie i strona Guermantes z rzeką pełną kijanek, z liliami wodnymi i jaskrami na zawsze stworzyły dla mnie oblicze krainy, gdzie pragnąłbym żyć, gdzie wymagam przede wszystkim tego, aby można było łowić ryby, pływać czółnem, widzieć ruiny gotyckich warowni i znaleźć pośród zbóż — jak w Saint-André-des-Champs — monumentalny kościół, wiejski i złocisty niby sterta zboża; i kiedy mi się zdarzy w podróży spotkać jeszcze w polach bławatki, głogi, jabłonie, natychmiast stają się bliskie memu sercu, ponieważ leżą w tej samej warstwie, na poziomie mojej przeszłości.

A jednak jest coś indywidualnego w miejscowościach! Kiedy mnie ogarnia żądza ujrzania strony Guermantes, nie zadowolilibym jej, idąc nad brzeg strumienia, gdzie byłyby równie piękne, piękniejsze lilie wodne niż na Vivonne; tak samo jak wieczór, za powrotem — w godzinie, kiedy się budzi we mnie ów lęk, który później wsiąka w miłość i może się stać na zawsze od niej nieodłączny — nie pragnąłbym, aby mi przyszła powiedzieć dobranoc matka piękniejsza i inteligentniejsza od mojej. Tęgo, czego mi było trzeba, abym mógł zasnąć szczęśliwy, z niezmaconym spokojem, żadna kochanka nie mogła mi dać od owego czasu. Człowiek wątpi o niej nawet w chwili, kiedy w nią wierzy; nigdy nie posiada jej serca tak, jak ja dostawałem w pocałunku serce mojej matki, całkowite, bez zastrzeżeń, bez ukrytej myśli, bez cienia intencji, która by nie była dla mnie. Trzeba by mi, aby to była ona, aby nachyliła ku mnie tę twarz, na której było pod okiem coś w rodzaju skazy, co kochałem na równi z resztą. I tak samo pragnąłbym ujrzeć ową stronę Guermantes, którą znałem, z fermą dosyć odległą od dwóch dalszych sąsiadujących z sobą, na skraju dębowej alei; łąki, na których, kiedy się staną zwierciadlane w słońcu niby sadzawka, rysują się liście jabłoni; krajobraz, którego odrębność chwytła mnie czasem w nocy w moich marzeniach z fantastyczną niemal siłą i którego nie mogę odnaleźć po przebudzeniu. Bez wątpienia, strona Méséglise i strona Guermantes, przez to, że na zawsze i nierozzerwalnie spoiły we mnie rozmaite wrażenia, dlatego jedynie, że mi ich dały doznać w tym samym czasie — naraziły mnie w przyszłości na wiele zawodów, nawet na wiele błędów. Bo często chciałem ujrzeć znów jakąś osobę, nie zgadując, iż pragnę jej widoku jedynie dlatego, że mi przypomina żywopłot z głógów; i często prosta chęć podróży rodziła we mnie wiarę w nawrót uczucia — i chęć udzielenia tej wiary. Ale przez to samo znowuż, owa strona Méséglise i strona Guermantes, wciąż obecne w tych moich dzisiejszych wrażeniach, z którymi mogę je skojarzyć, dają wrażeniom tym fundament, głębię, jeden wymiar więcej. Dają im również czar, znaczenie, istniejące jedynie dla mnie. Kiedy w letnie wieczory harmonijne niebo mruczy niby dzikie zwierzę i kiedy każdy dąsa się na burzę, stronie Méséglise zawdzięczam to, że ja jeden trwam w ekstazie, wdychając poprzez szmer deszczu zapach niewidzialnych i niezmiennych bżów.

\*

Tak często trwałem do rana, myśląc o czasach Combray, o smutnych bezsennych wieczorach, o tylu dniach także, których obrazy wskrzesił mi świeżo smak — w Combray powiedziano by „zapach” — filiżanki herbaty. Myślałem też — przez skojarzenie wspo-

mnień — i o tym, co w wiele lat po opuszczeniu miasteczka dowiedziałem się o miłości, którą Swann przeżył przed moim urodzeniem. Dowiedziałem się tego z ową obfitością szczegółów, łatwiejszą czasem do uzyskania o osobach zmarłych przed wiekami niż o życiu naszych najlepszych przyjaciół; ze ścisłością, która zdawałaby się niemożliwa — tak jak zdawało się niemożliwe rozmawiać z jednego miasta do drugiego — dopóki się nie zna sposobu pokonania tej niemożliwości. Wszystkie te wspomnienia zsumowane — a są tam najdawniejsze i świeższe, zrodzone z zapachu, i inne, będące jedynie wspomnieniami drugiej osoby, od której się ich dowiedziałem — tworzyły już tylko jedną masę, w której jednak można było rozpoznać jeżeli nie szczeliny i wyrwy, to bodaj owe żyłkowania, ową pstrokaczną barwę, które w niektórych skałach, w niektórych marmurach zdradzają różnice pochodzenia, wieku, formacji.

Zapewne kiedy się zbliżał ranek, krótka niepewność mego przebudzenia rozproszyła się już od dawna. Wiedziałem, w jakim pokoju znajduję się w istocie; odbudowałem go dokoła siebie w ciemności, i — czy to orientując się samą pamięcią, czy pomagając sobie dostrzeżonym słabym blaskiem, u którego stóp lokalizowałem firanki — odbudowałem go całkowicie, z urządzeniem niby architekt i tapicer, którzy zachowują pierwotne otwory okien i drzwi; ustawiłem lustra i przywróciłem komodę na jej zwyczajne miejsce. Ale zaledwie dzień — nie już blask ostatniego polana na mosiężnym trójnogu, blask, który wziąłem za dzień — wykreślił w ciemności jak gdyby kredą swoją pierwszą białą i wytyczną smugę, już okno opuszczało wraz z firankami odrzwia, w których umieściłem je przez pomyłkę, podczas gdy, robiąc mu miejsce, biurko ustawione tam niezdarnie przez moją pamięć umykało pędem, popychając przed sobą kominek i usuwając ściankę korytarza; podwórko królowało w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze rozciągała się gotowalnia. I mieszkanie odbudowane przeze mnie w ciemnościach połączyło się z innymi mieszkaniami ujrzanymi na chwilę w wirze przebudzenia, wypłoszone owym błędym znakiem, który wykreślił ponad firankami podniesiony palec dnia.

## CZĘŚĆ DRUGA. MIŁOŚĆ SWANNA

Aby należeć do „paczki”, do „gromadki”, do „małego klanu” państwa Verdurin, wystarczył jeden warunek, ale ten był nieodzowny; trzeba było milcząco przyjąć credo, którego jednym z punktów było, że młody pianista protegowany tego roku przez panią Verdurin — ten, o którym ona sama mówi: „Nie wolno człowiekowi grać Wagnera w ten sposób!” — pogrążył Plantégo i Rubinsteina, i że doktor Cottard jest cięższym diagnostą od profesora Potain. Wszelki „nowy nabytek”, niedający się Verdurinom przekonać, że przyjęcia u osób, które nie bywają u nich, są nudne jak lukrecja, likwidowano natychmiast. Kobiety były pod tym względem oporniejsze od mężczyzn: trudniej im było wyrzec się wszelkiej światowej ciekawości oraz chęci sprawdzenia osobiście uroku innych salonów; że zaś znowuż państwo Verdurin czuli, iż ów duch krytyki i demon światowości mógłby, udzielając się, zagrozić prawowierności małej kapliczki, musieli odrzucić kolejno wszystkich „wiernych” płci żeńskiej.

Pani Verdurin pochodziła z szanownej mieszczańskiej rodziny nadzwyczaj bogatej i zupełnie nieznannej, z którą stopniowo poniechała wszelkich stosunków. Z wyżej wymienionych powodów, mimo iż osobiście cnotliwa, ograniczyła się prawie wyłącznie w tym roku — poza młodą panią Cottard, żoną doktora — do towarzystwa pani de Crécy, osoby omal że nie z półświatka, którą pani Verdurin nazywała po imieniu Odetą i mieniła „słodką istotą”, oraz do ciotki pianisty, która niegdyś musiała być odźwierną. Owym paniom, naiwnie niezającym świata, tak łatwo było wmówić, że księżna de Sagan i księżna de Guermantes muszą za pieniądze ściągać nieszczęsnych gości na swoje obiady, że gdyby im samym ofiarowano zaproszenie do tych wielkich dam, eks-odźwierna i kokotka odmówiłyby wzgardliwie.

Państwo Verdurin nie zapraszali nikogo na obiad; miało się u nich stale „talerz zupy”. Wieczory nie miały programu. Młody pianista grał, ale tylko o ile „był w humorze”, bo nie zmuszano nikogo; jak mówił pan Verdurin: „wszystko dla przyjaciół, niech żyje koleżeństwo!”. Jeżeli pianista chciał grać kawalkadę z *Walkirii* albo preludium z *Tristana*, pani Verdurin protestowała; nie iżby nie kochała tej muzyki, ale przeciwnie, dlatego że ją zanadto wzrusza. „Więc chcecie, żebym znowu dostała tej wścieklej migreny? Wicie przecież, że tak jest za każdym razem, kiedy on to gra. Jutro, kiedy będę chciała wstać, koniec, ani ręką, ani nogą!”. O ile pianista nie grał, rozmawiano; któryś z przyjaciół, najczęściej ówczesny ich malarz-faworyt, „puszczał — jak powiadał pan Verdurin — kawały, od których wszystko się trzymało za brzuchy”. Pani Verdurin zwłaszcza tak bardzo miała zwyczaj dosłownie brać metafory doznawanych wzruszeń, że doktor Cottard (wówczas początkujący lekarz) musiał któregoś dnia nastawiać jej szczękę, którą zwichnęła od zbytńskiego śmiechu.

Frak był zabroniony, ponieważ było się *między swymi*, i aby się nie upodobniać do *nudziarzy*, których strzeżono się jak ognia. Tych zapraszano jedynie na wielkie wieczory, urządzone możliwie najrzadziej, wyłącznie o ile to mogło zabawić malarza lub dać poznać muzyka. W inne dni poprzestawano na zabawie w szarady, na kolacyjkach kostiumowych, ale w swoim kółku, nie wpuszczając nikogo obcego w małą gromadkę.

Ale w miarę jak *swoi* zajmowali więcej miejsca w życiu pani Verdurin, do „nudziarzy”, do potępionych, zaczęło się liczyć wszystko to, co od niej odciągało przyjaciół, co im niekiedy przeszkadzało rozrządzać sobą; więc matka jednego, zajęcia drugiego, letnie mieszkanie albo słabe zdrowie trzeciego. Kiedy doktor Cottard chciał wyjść zaraz po obiedzie, spiesząc do ciężko chorego, pani Verdurin mówiła: „Kto wie, może mu to zrobi o wiele lepiej, jeśli go pan nie będzie dziś niepokoił; spędzi spokojną noc bez doktora, jutro zajdzie pan wcześniej i zastanie go pan w najlepszym zdrowiu”. Już od początku grudnia pani Verdurin chorowała na myśl, że wierni „puszczą ją kantem” na Wilię i na Nowy Rok. Ciotka pianisty wymagała na przykład, aby siostrzeniec przyszedł tego dnia na rodzinny obiad do jej matki:

— Myśli pani, że pani matka umarłaby z tego — wykrzyknęła twardo pani Verdurin — gdybyście nie zjedli z nią obiadu w Nowy Rok jak na *prowincji*.

Niepokoje jej odradzały się w Wielkim Tygodniu:

— Pan, doktorze, uczony, wolnomyśliciel, przyjdzie pan oczywiście w Wielki Piątek, jak w inne dni? — rzekła do doktora Cottard w pierwszym roku znajomości tonem takim, jakby nie można było wątpić o odpowiedzi. Ale drżała, czekając co doktor odpowie, bo gdyby nie przyszedł, groziło jej, że będzie sama.

— Przyjdę w Wielki Piątek... pożegnać się, bo jedziemy na święta w nasze strony, do Owernii.

— Do Owernii po to, żeby was tam zjadły pchły i robactwo, winszuję!

I po chwili milczenia:

— Gdyby pan był nas choć uprzedził, postaralibyśmy się zorganizować to, odbyć tę podróż razem, w komfortowych warunkach.

Tak samo, jeżeli „swój” miał przyjaciela albo „swoja” jakiś flirt, który mógłby ją czasem przyprawić o niewierność uswięconym wieczorom, nie przestraszało państwa Verdurin to, że kobieta może mieć kochanka, byle go miała u nich, byle go kochała u nich i nie wolała go od nich. Powiadali: „Więc dobrze! Przyprowadź swego przyjaciela”. I angażowano go niejako na próbę, aby się przekonać, czy zdolny jest nie mieć sekretów dla pani Verdurin, czy godny jest, aby go przyjąć do „paczki”. Jeżeli nie był godny, brano na bok *swojego* lub *swoją* i starano się ich poróżnić z przyjacielem lub kochanką. W przeciwnym razie „nowy” stawał się z kolei *swoim*. Toteż, kiedy w tym roku owa osoba z półświatka opowiedziała panu Verdurin, że poznała uroczego człowieka, pana Swann, i natrąciła, że ów Swann byłby bardzo szczęśliwy, gdyby się mógł dostać do nich, Verdurin z miejsca przekazał to podanie żonie. (Własne zdanie miał dopiero po żonie; specjalnością zaś jego było spełniać pragnienia małżonki, zarówno jak pragnienia „swoich”, z wielkim nakładem pomysłowości.)

— Właśnie pani de Crécy ma do ciebie małą prośbę. Chciałaby ci przedstawić jednego ze swoich przyjaciół, pana Swann. Co ty na to?

— Ależ jakże! Czy można czegokolwiek odmówić naszej czarującej malej? Cicho siedź, nikt się ciebie nie pyta o zdanie, jesteś czarująca mała.

— Skoro pani tak każe — odparła Odeta, mizdrząc się, i dodała — Pani wie, że ja nie jestem „*fishing for compliment*”.

— Więc dobrze, przyprowadź swojego przyjaciela, jeżeli jest miły.

To pewna, iż „paczka” nie miała żadnego związku z towarzystwem, w którym obracał się Swann, i skończeni światowcy uważaliby, że nie warto było jak on mieć wyjątkowej sytuacji w „świecie” po to, aby się starać o wprowadzenie do państwa Verdurin. Ale Swann tak lubił kobiety, że od czasu gdy poznał mniej więcej wszystkie damy z arystokracji tak, iż nie miały dla niego żadnych niespodzianek, indygenat ów, niemal dyplom szlachectwa, jaki mu przyznała *faubourg Saint-Germain*, miał dlań wartość jedynie jako rodzaj waloru wymiennego. Był to niejako oblig bez istotnej ceny, ale dający się spożytkować kędyś na prowincji albo w jakimś zakątku Paryża, gdzie córka wiejskiego szlachciury albo pisarza sądowego wpadła mu w oko. Bo żądza lub miłość wracały wówczas Swannowi uczucie próżności, od którego był obecnie w zwykłym trybie życia wolny, mimo iż niewątpliwie to właśnie uczucie skierowało go niegdyś ku karierze światowej, w której błahych zabawach strwonił dary umysłu, obracając swoją wiedzę artystyczną na to, aby modnym damom służyć za doradcę przy kupnie obrazów i urządzaniu pałaców. Rodziła się w nim wówczas chęć błysnięcia przed piękną nieznajomą wykwintem, którego nazwisko *Swann* samo przez się nie posiadało. Pragnął tego zwłaszcza, o ile nieznajoma była skromnej kondycji. Inteligentny człowiek, jeżeli się boi wydać głupim, to nie w oczach drugiego inteligentnego człowieka; tak samo człowiekowi eleganckiemu grozi nie to, że elegancji jego nie oceni wielki pan, ale że może jej nie docenić prostak. Trzy czwarte wysiłków i kłamstw z próżności, wyprodukowanych od czasu, jak świat istnieje (i to najczęściej z odwrotnym skutkiem), popelnia się na intencję niższych od siebie. I ten sam Swann, prosty i bezceremonialny z jakąś księżną, kiedy miał do czynienia z pokojówką, drżał, że się „nie wyda”, pozował.

Swann był dość różny od ludzi, którzy przez lenistwo lub przez potulne poczucie obojętności wobec własnej godności stronią od przyjemności, jakie nastrecza im życie poza ich światową pozycją. Tacy żyją zamurowani do śmierci w swojej przegródce, zadowolając się w końcu tym, aby nazywać przyjemnościami — w braku lepszych i z przyzwyczajenia — mierne rozrywki lub znośne nudy, jakie w niej znajdują. Swann nie zmuszał się,



aby mu się podobały kobiety, z którymi przestawał, ale starał się przestawać z kobietami, które mu się spodobały. A bywały to kobiety o urodzie dosyć pospolitej; przymioty fizyczne bowiem, jakich szukał bezwiednie, były w zupełnej sprzeczności z zaletami, które podziwiał w kobietach rzeźbionych lub malowanych przez jego ulubionych mistrzów. Wyras melancholii, głębi, mroził jego zmysły, które pobudzało natomiast zdrowe, obfite i różowe ciało.

Jeżeli w podróży spotkał rodzinę, której znajomość pod względem światowym nie przynosiła zaszczytu, ale w której kobieta jakaś olśniła jego oczy nieznanym mu jeszcze powabem, wówczas poprzestać na swoim stanie „stanie posiadania”, oszukać rodzając się nowe pragnienie, podstawić inną rozkosz (sprowadzając np. dawną kochankę) w miejsce rozkoszy, której mógłby zaznać z nieznaną, wydawałoby się Swannowi nikczemną abdykacją wobec życia. Takie wyrzeczenie się nowego szczęścia zdawałoby mu się równie głupie, co gdyby zamiast zwiedzić jakiś kraj siedział zamknięty w swoim pokoju i oglądał widoki Paryża. Swann nie zamykał się w gmachu swoich stosunków, ale zrobił z nich rodzaj składanego namiotu podróżnika, aby móc go sobie ustawić na nowo wszędzie, gdzie mu się spodoba jakaś kobieta. A co nie było przenośne lub nie dało się wymienić na nową przyjemność, wszystko to oddałby za nic, choćby się innym wydawało najpożądanwsze. Ileż razy zniszczył cały swój kredyt u jakiejś wielkiej damy, która od lat pragnęła mu w czymś być miła, nie znajdując sposobności po temu; i Swann wyczerpywał swoje konto jednym zamachem, żądając od niej niedyskretną depeszą telegraficzną rekomendacji umożliwiającej mu doraźny wstęp do któregoś z jej intendentów, którego córka wpadła mu w oko gdzieś na wsi. W tych wypadkach Swann postępował jak człowiek zgłodniały, który by zamienił diament za kawałek chleba. Później nawet bawił się tym, bo było w nim — okupione rzadkimi delikatnościami — pewne chamstwo.

Przy tym Swann należał do owej kategorii mężczyzn inteligentnych, którzy pędząc żywot próżniaczy, szukają pociechy — a może wymówki — w przeświadczeniu, że owo próżniactwo nastrocza ich inteligencji przedmioty bardzo godne zainteresowania, nie gorzej nauki lub sztuki; że „życie” zawiera sytuacje bogatsze, bardziej powieściowe niż wszystkie powieści. Upewniał tak przynajmniej i przekonywał o tym bez trudu swoich najwybredniejszych przyjaciół, zwłaszcza barona Charlus, którego lubił zabawiać pikantnymi awanturkami z własnych przeżyć. Jednego razu, poznawszy w wagonie kolejowym jakąś kobietę i zawiózłszy ją do siebie, odkrył, że nieznaną jest siostrą monarchy mającego w tej chwili w rękach wszystkie nici polityki europejskiej, w której sekrety Swann wnikał nagle w sposób nader przyjemny; innym razem, dzięki zawikłanej grze okoliczności, od rezultatu konklawe zależało, czy mu się uda zostać amantem pewnej kucharki; etc. etc.

Nie tylko zresztą świetną falangę cnotliwych matron, generałów, akademików i innych osób, z którymi był specjalnie blisko, Swann zmuszał z takim cynizmem, aby mu służyli za rajfurów. Wszyscy jego przyjaciele nawykli od czasu do czasu dostawać od niego listy, w których prosił o wprowadzenie lub rekomendację. Dyplomacja, którą rozwijał w tej grze wśród kolejnych miłostek i pod rozmaitymi pozorami, dowodziła, bardziej niż by to uczyniły jakieś niezręczności, konsekwentnego charakteru i wciąż jednakich celów. W wiele lat później, kiedy zacząłem się interesować charakterem Swanna — odkrywając w nim pod innymi względami wiele podobieństw z moim własnym — słyszałem często, że kiedy pisał do mego dziadka (mówiąc ściśle, nie był to jeszcze mój dziadek, bo właśnie w dobie mego urodzenia zaczęła się wielka miłość Swanna, która przerwała na długo owe jego praktyki), dziadek, poznając na kopercie pismo przyjaciela, wykrzykiwał: „Oho, Swann prosi mnie o coś: miejmy się na baczności!”. I czy to przez nieufność, czy przez owo nieświadomie diaboliczne uczucie, które każe nam ofiarowywać jakąś rzecz jedynie ludziom wcale jej niepragnącym, dziadek i babka zachowywali się opornie wobec najłatwiejszych do spełnienia prośb Swanna. Kiedy na przykład prosił, żeby go przedstawić młodej panience co niedzielę bywającej u dziadków na obiedzie, musieli za każdym razem udawać przed Swannem, że jej już nie widują, podczas gdy cały tydzień zastanawiali się, kogo by z nią zaprosić, nie znajdując w końcu nikogo, a nie chcąc skinąć na tego, którego by to tak uszczęśliwiło!

Czasami jacyś znajomi dziadków żalący się wprzód, że nigdy nie widują Swanna, oznajmiali z zadowoleniem (może i z chęcią obudzenia zazdrości), że ten też Swann stał się

dla nich niesłuchanie uprzejmy, po prostu nie wychodzi z ich domu. Dziadek nie chciał mać ich przyjemności, ale patrząc na babkę, nucił:

Co tkwi w tajemnicy tej,  
rozumieć nie ma sposobu...

albo:

Widzenie ulotne jak sen...

albo:

W takich sprawach, kto nie fryc,  
Najlepiej nie widzi nic...

W kilka miesięcy potem, jeżeli dziadek zapytał nowych przyjaciół Swanna: „A cóż Swann, zawsze widujecie go tak często?”, twarz interlokutora wydłużała się: „Niech pan nigdy nie wymawia przy mnie tego nazwiska!” — „Ależ ja myślałem, że jesteście z sobą tak dobrze...”.

W ten sposób był Swann przez kilka miesięcy najbliższym przyjacielem pewnych kuzynów babki, bywał tam prawie co dzień na obiedzie. Nagle przestał się zjawiać, nie uprzedziwszy ich. Myślano, że jest chory; pani domu miała doń posłać z zapytaniem o zdrowie, kiedy znalazła w kredensie list Swanna, zapomniany przez nieuwagę w książce z rachunkami kucharki. Swann oznajmiał tej dziewczynie, że wyjeżdża z Paryża, że już nie przyjdzie więcej. Była jego kochanką; i w chwili zerwania ją jedną uważał za właściwe uprzedzić.

Kiedy przeciwnie, chwilowa kochanka Swanna była damą z towarzystwa lub bodaj osobą, której zbyt niskie pochodzenie lub nazbyt dwuznaczna sytuacja nie przeszkadzały mu wprowadzić w towarzystwo, wówczas dla niej Swann sam wracał do „świata”, ale tylko w specjalną orbitę, w której ona się obracała lub w którą sam ją wciągał. „Nie ma co liczyć na Swanna dziś wieczór — powiadano — wiecie przecie, że w ten dzień jego Amerykanka ma Operę”. Wyrabiał swojej pani zaproszenia do najbardziej zamkniętych salonów, w których miał swoje nawyki, swoje stałe obiady, partyjkę pokera; co wieczora, dawszy lekko sfalować żelazkiem szczytkę rudych włosów — co łagodziło nieco żywość jego zielonych oczu — Swann wybierał kwiat do butonierki i szedł się spotkać z kochanką na obiedzie w którymś ze swoich bliskich domów. Ożywiała go myśl o podziwie i przyjaźni światowców, dla których on był wyrocznią i których miał tam spotkać; o dowodach sympatii, jakie go czekały w obecności kochanej kobiety. Odnajdywał wówczas urok w owym światowym życiu, którym się już zdążył zblazować, ale którego materia, nasyciona i gorąco zabarwiona wnikałym w nią sekretным płomieniem, zdała mu się cenna i piękna od chwili, gdy w nią wprowadził nową miłość.

Każda z tych miłostek lub każdy z tych flirtów były mniej lub bardziej pełnym ziszczeniem marzeń zrodzonych z widoku jakiejś twarzy lub jakiegoś ciała, które Swannowi wydały się samorzutnie, bez wysiłku z jego strony, urocze. Wręcz odmiennie miały się rzeczy, kiedy go raz w teatrze jeden z dawnych przyjaciół przedstawił Odecie de Crécy. Przyjaciół mówił Swannowi o niej jako o czarującej kobiecie, z którą dałoby się może coś wskórać; zarazem chcąc przydać ceny swojej usłudze, przedstawił mu panią de Crécy jako osobę trudniejszą niż była nią w istocie. Niewątpliwie Odeta wydała się Swannowi piękna, ale w rodzaju, który mu był obojętny, który nie budził w nim żadnych pragnień, poniekąd nawet odpychał go fizycznie; wydała mu się jedną z owych kobiet (każdy ma takie i każdy odmiennie) będących przeciwieństwem typu ciągnącego nasze zmysły. Na jego gust miała profil zbyt wyrazisty, cerę zbyt delikatną, kości policzkowe zbyt wydatne, rysy zbyt pociągłe. Oczy miała piękne, ale tak duże, że uginały się pod swoją własną masą, nużyły resztę twarzy i właścicielce jej dawały zawsze wyraz taki, jakby była mizerna albo w złym humorze.

W jakiś czas po tej prezentacji pani de Crécy napisała do Swanna, prosząc o pozwolenie obejrzenia jego zbiorów. To by ją tak interesowało! — ją, „ciemną w tych sprawach,

ale mającą instynkt rzeczy pięknych”. Powiadała, że ma wrażenie, iż będzie go znała lepiej, kiedy go zobaczy „w jego *home*”, gdzie go sobie wyobraża „tak komfortowo, przy herbacie, wśród książek”; mimo iż nie ukrywała zdziwienia, że Swann mieszka w dzielnicy tak smutnej, „tak mało *smart*, jak na niego, który jest wcieleniem *smartu*”. I skoro za zgodą Swanna przyszła, żalowała, żegnając się, że tak krótko bawiła w mieszkaniu, gdzie się czuła tak szczęśliwa; mówiła do Swanna o nim samym tak, jakby był dla niej czymś więcej od innych znajomych; roila między nim a sobą romantyczne powinowactwo dusz, które przyprowadziło Swanna o uśmiech. Ale w krytycznym wieku, do którego zbliżał się Swann, człowiek umie się zadowolić tym, że kocha, dla przyjemności kochania, nie za nadto wymagając wzajemności; wówczas owo zbliżenie serc, o ile nie jest jak za młodu nieodzownym celem miłości, kojarzy się w zamian z jej pojęciem tak silnie, że może się stać przyczyną miłości, o ile ją wyprzedzi. Niegdyś człowiek marzył o tym, aby posiadać serce kobiety, którą kochał; później przeświadczenie, iż posiada serce kobiety może mu wystarczyć do pokochania jej. W miłości szuka się zwłaszcza rozkoszy subiektywnej, toteż w wieku, w którym, zdawałoby się, rola pociągu fizycznego powinna być tym większa, miłość — i to na wskroś fizyczna — może się zrodzić bez początkowego pragnienia. W tej epoce życia poznaliśmy już kilkakrotnie miłość; nie rozwija się ona sama, wedle swoich własnych, nieznanych i nieubłaganych praw, wobec naszego zdumionego i biernego serca. Przychodzimy jej z pomocą, fałszujemy ją pamięcią, sugestią. Poznając jeden z jej symptomów, przypominamy sobie, wskrzeszamy inne. Ponieważ znamy jej pieśń, zapisaną w nas w całości, aby znaleźć dalszy ciąg, nie potrzebujemy, żeby nam kobieta zanuciła jej początek — zastąpiony podziwem zrodzonym z piękności. A jeżeli zacznie ją w środku, tam, gdzie serca są już blisko, gdzie mówi się o stopieniu dwojga istnień — znamy tę melodię na tyle, aby natychmiast dopaść naszą partnerkę w momencie, w którym nas oczekuje.

Odeta de Crécy odwiedziła Swanna powtórnie, potem przychodziła coraz częściej. Niewątpliwie każda z tych wizyt odnawiała w nim rozczarowanie zrodzone z widoku rysów, których szczegółów zapomniał tymczasem po trosze, nie wyobrażając sobie tej twarzy tak wyrazistą, ani mimo młodości tak przywieźłą. Rozmawiając z Odetą, żalował, że świetna jej uroda nie jest z rodzaju, który by doń przemawiał bezpośrednio. Trzeba zresztą powiedzieć, że twarz Odety wydawała się szczuplejszą i wydatniejszą przez to, że czoło i część policzków były zakryte masą włosów, które noszono wówczas nastroszone, „utapirowane”, opadające w kręcących się loczkach koło uszu; co się zaś tyczy ciała (była cudownie zbudowana), trudno było odgadnąć jego linię pod ówczesną modą, mimo że pani de Crécy była jedną z najlepiej ubierających się kobiet w Paryżu. Stanik sterzący niby na urojonym brzuchu i kończący się nagle szpicem, podczas gdy poniżej wzdymał się balon podwójnej spódnicy, wywoływał wrażenie, jak gdyby kobieta się składała z rozmaitych i źle do siebie dopasowanych części; riuszki, falbany, figaro, zmierzały, wedle kaprysów kroju lub konsystencji materiału, łamaną linią ku kokardkom, ku zwojom koronek, ku dżetowym frędzłom, układały się wzdłuż brykli, ale nie wiązały się zgoła z żywą istotą, która wedle tego, czy architektura szmatek zbliżała się lub oddalała od jej własnej budowy, ztracała się w nich lub zniekształcała.

Ale kiedy Odeta wyszła, Swann uśmiechał się, przypominając sobie to, co mu powiedziała; jak jej się będzie dłużył czas do chwili, w której pozwoli jej przyjść znowu. Przypomnił sobie niespokojną, zatrwożoną minkę, z jaką go raz prosiła, aby to oczekiwanie nie trwało zbyt długo. Kiedy to mówiła, spojrzenia jej wlepione w niego, trwożliwe, błagalne pod bukiem sztucznych bratków na okrągłym białym słomkowym kapeluszu z czarnymi aksamitkami, miały coś wzruszającego. „A pan — rzekła — czy pan nie przyjdzie do mnie kiedy na filiżankę herbaty?” Swann powołał się na swoje prace, na studium — w rzeczywistości porzucone już od lat — nad malarzem Vermeer van Delft. „Rozumiem, że to nie dla mnie, czuję się taka nędzna przy takich ludziach jak wy, wielcy uczeni — odpowiedziała. — Byłabym jak mucha przy katedrze Notre-Dame. A jednak, tak bym lubiła kształcić się, wiedzieć coś, rozumieć. Jakie to musi być zabawne szperać w książkach, grzebać się w starych papierach” — dodała z ową zadowoloną z siebie minką, jaką przybiera wykwinna kobieta, utrzymując, że jej rozkoszą jest paprać się bez obawy powalania się, coś tak jak gotować samej „zawinąwszy rękawy po łokcie”.

— Będzie pan sobie żartował ze mnie, ale nigdy nie słyszałam o tym malarzu, który nie pozwala panu przyjść do mnie (miała na myśli Vermeera); czy on żyje jeszcze? Czy można zobaczyć jego obrazy w Paryżu, abym sobie mogła lepiej uzmysłowić to, co pan kocha, odgadnąć trochę, co jest pod tym szerokim czołem, które tyle pracuje, w tej głowie która — widać to! — bez ustanku coś rozważa; móc sobie powiedzieć: o, on właśnie o tym myśli. Jakie by to było rozkoszne móc dzielić pańską pracę!

Wymówił się obawą nowych przyjaźni, co nazwał — przez galanterię — obawą przed cierpieniem.

— Boi się pan przywiązania? Jakie to zabawne, a ja tylko tego szukam, dałabym życie za to, żeby je znaleźć — rzekła głosem tak naturalnym, tak głęboko przekonanym, że go to wzruszyło. — Musiał pan cierpieć przez kobietę. I myśli pan, że inne są takie same. Nie umiała pana zrozumieć; pan jest taki inny. To mi się właśnie w panu spodobało, czułam zaraz, że pan nie jest taki jak wszyscy.

— Ależ ja wiem, co to są kobiety; i pani musi mieć przecie mnóstwo zajęć, rzadko pani jest wolna.

— Ja! Nigdy nie mam nic do roboty, zawsze jestem wolna, zawsze będę wolna dla pana. O którejkolwiek godzinie dnia i nocy, kiedy tylko będzie pan miał ochotę mnie widzieć, niech pan po mnie pośle, będę szczęśliwa, przybiegnę. Czy zrobi pan tak? Wie pan, co by było ładnie? Żeby się pan zapoznał z państwem Verdurin, gdzie bywam co wieczór. Niech pan pomyśli! Gdyby się tam móc spotkać i gdybym mogła wierzyć, że pan się tam znalazł troszkę dla mnie!

Niewątpliwie przypominając sobie ich rozmowy, myśląc tak o niej, kiedy był sam, w swoich romantycznych marzeniach Swann przyzywał obraz Odety, ot, wśród obrazów wielu innych kobiet; ale gdyby dzięki jakiejś okoliczności (lub nawet poza nią, ile że okoliczność ta może nie mieć udziału w istnieniu dotąd utajonego, a nagle ujawnionego stanu) obraz Odety wchłonął wszystkie te marzenia; gdyby się już stały nieodłączne od jej wspomnienia, wówczas braki jej fizyczne nie miałyby żadnej wagi ani to, czy jej uroda była wprzód w guście Swanna. Ciało jej, stawszy się po prostu ciałem kobiety kochanej, byłoby odtąd jedynym zdolnym mu dać rozkosz i cierpienie.

Przypadkowo dziadek mój znał rodzinę państwa Verdurin (czego nie można było powiedzieć o żadnym z ich obecnych przyjaciół). Ale poniechał wszelkich stosunków z „młodym Verdurin”, jak go nazywał. Uważał go, nieco sumarycznie, za człowieka, który — zachowawszy zresztą liczne miliony — ugrzązł w „bohemie” i w hołocie. Jednego dnia dziadek dostał list od Swanna z zapytaniem, czy by go nie mógł zapoznać z Verdurinami. „Bacność! bacność! — wykrzyknął dziadek — to mnie wcale nie dziwi, naszego Swanna nieuchronnie czekał taki koniec. Ładne towarzystwo! Po pierwsze, nie mogę zrobić tego, o co mnie prosi, bo nie znam już pana Verdurin. A potem, musi się w tym kryć jakaś babska historia, ja się nie wdaję w takie sprawy. Ha, ha! To będzie ładna zabawa, jeżeli Swann wdepnie w tych Verdurinów!”

Po odmownej odpowiedzi dziadka Odeta sama wprowadziła Swanna do państwa Verdurin.

W dniu, w którym Swann się zjawił, Verdurinowie mieli na obiedzie doktora Cottard z żoną, młodego pianistę z ciotką, wreszcie malarza, który wówczas cieszył się ich łaską; w ciągu wieczora przybyło jeszcze paru innych wiernych.

Doktor Cottard nigdy nie wiedział całkiem na pewno, z jakiego tonu ma komuś odpowiedzieć; czy partner żartuje, czy mówi serio. Na wszelki wypadek doktor okraszał stale twarz szkicem konwencjonalnego i prowizorycznego uśmiechu, którego wyczekująca domyślność miała go ratować od zarzutu naiwności, w razie gdyby czyjeś powiedzenie okazało się żartem. Że jednak na wypadek przeciwnej ewentualności doktor nie pozwalał temu uśmiechowi jawnie rozkwitnąć, na twarzy jego bujała ustawiczna niepewność; czytało się na niej pytanie, którego nie śmiał zadać: „Czy pan to mówi serio?”. Jak w salonie, tak samo Cottard nie był pewny swojego zachowania się na ulicy, a nawet w ogóle w życiu; przechodniom, powozom, wypadkom przeciwstawiał ten sam chytry uśmieszek, z góry neutralizujący wszelką z jego strony niewłaściwość: o ile by wzięcie<sup>22</sup> doktora kiedykolwiek

<sup>22</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

wiek nie było na miejscu, uśmiech ten dowodził, że wie o tym i że, jeżeli tak postąpił, to tylko przez żart.

W zamian na wszystkich punktach, gdzie szczere pytanie zdawało mu się dozwolone, doktor starał się ograniczyć pole swoich wahań i uzupełniać swoją wiedzę.

I tak za radą przewidującej matki (dała mu tę radę, kiedy opuszczał prowincję) nigdy nie przepuścił nieznanego mu zwrotu ani nazwiska, ale starał się uzyskać o nich pewne informacje.

Co się tyczy gotowych zwrotów, doktor był nienasycony w żądzy objaśnień. Przypisując im niekiedy znaczenie ściślejsze niż je mają w istocie, rad był wiedzieć, co oznaczają dokładnie wyrażenia słyszane najczęściej, jak fajerwerk dowcipu, błękitna krew, wejść komuś w paradę, homeryczny śmiech, król życia, dawać *carte blanche*, spaść z księżycą, i w jakich określonych wypadkach godzi się ich używać. W ich braku okraszał rozmowę kalamburami, których się wyuczył. Co się tyczy nazwisk usłyszanych po raz pierwszy, ograniczał się do powtórzenia ich pytającym tonem, spodziewając się w ten sposób uzyskać wyjaśnienia, bez wyraźnego ich żądania.

Doktor ludził się, że jest wcieleniem zmysłu krytycznego, którego nie posiadał ani trochę. Dlatego straconym trudem była z nim owa wyrafinowana uprzejmość polegająca na tym, aby kiedy komuś robimy grzeczność, utrzymywać obłudnie, że to on nam ją wyświadcza. Cottard brał wszystko dosłownie. Mimo całego jej zaślepienia na punkcie doktora, drażnił tym niekiedy panią Verdurin, co jej nie przeszkadzało nadal wierzyć w jego inteligencję. Kiedy zaprosiła go do najlepszej łoży na występ Sary Bernhardt i chcąc być tym uprzejmiej, rzekła: „Jest pan bardzo miły, że pan przyszedł, doktorze; z pewnością widział pan już często Sarę, przy tym jesteśmy może za blisko sceny” — Cottard, który wszedł do łoży z uśmiechem wyczekującym, aby mu ktoś miarodajny uświadomił wartość spektaklu, odparł: „W istocie, jesteśmy o wiele za blisko i rzeczywiście człowiek ma już trochę dosyć Sary Bernhardt. Ale pani raczyła wyrazić życzenie, abym przyszedł, a życzenie pani jest dla mnie rozkazem. Szczęśliwy jestem, że mogłem pani oddać tę drobną przysługę. Czegóż by się nie zrobiło, aby pani sprawić przyjemność; pani jest taka dobra!” i dodawał: „Sara Bernhardt to jest Złotogłosa, prawda? I piszą także często, że ona się cała spala. Dziwne wyrażenie, nieprawdaż?”, dodawał w nadziei wyjaśnień, których się nie doczekał.

— Wiesz — rzekła pani Verdurin do męża — zdaje mi się, że my obieramy mylną drogę, obniżając przez skromność to, co ofiarujemy doktorowi. To uczony, który żyje poza rzeczywistością, nie zna wartości rzeczy i polega na tym, co my mu mówimy.

— Nie śmiałem ci tego powiedzieć, ale zauważyłem to samo — odpowiedział pan Verdurin.

I na najbliższy Nowy Rok, zamiast posłać doktorowi Cottard rubin za trzy tysiące franków, powiadając, że to drobiazg, pan Verdurin kupił za trzysta franków syntetyczny kamień, dając do zrozumienia, że niełatwo znalazłoby się równie piękny.

Pani Verdurin oznajmiła, że tego wieczora przyjdzie do nich niejaki Swann. „Swann?” — wykrzyknął doktor tonem aż brutalnym ze zdziwienia; lada nowina bowiem zaskakiwała zawsze tego człowieka, który wiecznie uważał się za przygotowanego na wszystko. Nikt mu nie odpowiedział. „Swann? Kto to jest Swann?” — ryknął doktor z niepokojem, który się uśmierzył natychmiast, kiedy pani Verdurin rzekła:

— No, ten przyjaciel Odety, o którym nam mówiła.

— A, dobrze, dobrze, to już dobrze, — odparł uspokojony. Co się tyczy malarza, ten ucieszył się z obecności Swanna w salonie pani Verdurin, bo przypuszczał, że Swann kocha się w Odecie, a lubił protegować miłoścki.

— Nic mnie tak nie bawi, jak kojarzyć małżeństwa — zwierzył się do ucha doktorowi — udawało mi się to już nieraz, nawet między kobietami!

Mówiąc Verdurinom, że Swann jest bardzo *smart*, Odeta zaniepokoiła ich, że to będzie „nudziarz”. Przeciwnie, zrobił na nich doskonale wrażenie, którego, bez ich wiedzy, jedną z pośrednich przyczyn było obycie Swanna. W istocie Swann miał nad ludźmi nawet inteligentnymi, ale którzy „nie bywali”, ową wyższość światowców, polegającą na tym, że oni nie deformują „świata” pragnieniem lub grozą własnej wyobraźni; jest dla nich czymś bez znaczenia. Uprzejmość takich ludzi, wyzwolona z wszelkiego snobizmu i z obawy, że się wydadzą zbyt uprzejmi, posiada swobodę i wdzięk człowieka, którego wycwiczone

członki wykonują ściśle to, co chcą, bez niedyskretnego i niezręcznego udziału reszty ciała. Elementarna gimnastyka światowca podającego z wdziękiem rękę nieznanemu młodemu człowiekowi, którego mu ktoś przedstawia, a schylającego się z uszanowaniem przed ambasadorem, któremu jego przedstawiają, przeszła w końcu mimowiednie w całą postawę towarzyską Swanna. Wobec ludzi ze środowiska niższego niż jego własne (jak państwo Verdurin i ich przyjaciele), instynktownie rozwinął gorliwość i uprzejmość, na które wedle nich „nudziarz” nie byłby się zdobył. Chwilę chłodu miał jedynie z doktorem Cottard: widząc, jak doktor mruży oko i uśmiecha się doń dwuznacznie, zanim jeszcze do siebie przemówili (mimika, którą doktor nazywał „wyczekującą”), Swann pomyślał, że doktor go zapewne zna, że go spotkał w jakim podejrzanym lokalu (mimo że Swann bywał w nich nader rzadko, nigdy nie żył w „wesołym świątku”). Uważając tę aluzję za nietakt, zwłaszcza w obecności Odety, która mogła stąd powziąć o nim ujemne pojęcie — przybrał minę lodowatą. Ale kiedy się dowiedział, że dama siedząca obok jest panią Cottard, Swann pomyślał, że równie młody żonkoś nie próbowałby robić przy żonie aluzji tego rodzaju, i przestał w porozumiewawczej minie doktora widzieć dwuznaczną intencję.

Malarz zaprosił Swanna z miejsca, aby zaszedł z Odetą do jego pracowni; ten malarz wydał mu się sympatyczny.

— Może na pana będzie łaskawszy niż na mnie — rzekła pani Verdurin tonem niby to urazy — i pokaże panu portret doktora (sama pani Verdurin zamówiła go u malarza). Niech pan pamięta, panie mistrzu (zwróciła się do malarza, którego uświęcony koncept kazał tytułować „panem mistrzem”), aby dobrze oddać to miłe spojrzenie, ten sprytny i dowcipny wyraz oczu. Wiesz, panie mistrzu, co bym zwłaszcza pragnęła mieć: chodzi mi o uśmiech doktora; zamówiłam sobie wyraźnie portret jego uśmiechu.

Wyrażenie to zdawało się pani Verdurin tak godne uwagi, iż powtórzyła je bardzo głośno, aby mieć pewność, że je usłyszano; a nawet pod jakimś pozorem gestem przywołała zawczasu kilka osób. Swann prosił, aby go przedstawiono wszystkim, nawet staremu przyjacielowi Verdurinów, niejakiemu Saniette. Nieśmiałość, prostota i dobre serce pana Saniette pozbawiły go wszędzie szacunku, jaki mu zjednała jego wiedza archiwisty, duży majątek i dystyngowane pochodzenie. Kiedy mówił, miał w ustach „kluseczki” — pełne wdzięku zresztą, bo czuło się, iż zdradzają nie tyle wadę mowy, ile zalety duszy, jak gdyby dziecięcą niewinność, której nigdy nie stracił. Wszystkie spółgłoski, których nie mógł wymówić, symbolizowały tyleż brutalności, do których nie był zdolny. Prosząc, aby go przedstawiono panu Saniette, Swann zrobił na pani Verdurin wrażenie człowieka, który odwrócił role, tak dalece, iż w odpowiedzi rzekła, podkreślając różnicę: „Panie Swann, czy pozwoli pan przedstawić sobie naszego przyjaciela Saniette?”. Natomiast w panu Saniette Swann wznicił gorącą sympatię. Sympatii tej Verdurinowie nigdy nie zdradzili Swannowi, bo Saniette drażnił ich trochę i nie mieli specjalnej ochoty zyskiwać mu przyjaciół. Wreszcie Swann wzruszył ich nieskończenie tym, że uważał za swój obowiązek zaraz przedstawić się ciotce pianisty. W czarnej sukni jak zawsze, ponieważ sądziła, że w czarnym jest zawsze dobrze i że to jest strój najdystyngowańszy, osoba ta zwykle była po obiedzie nadzwyczaj czerwona. Skłoniła się Swannowi z szacunkiem, ale wyprostowała się majestatycznie. Ponieważ była bez wykształcenia i bała się robić błędy w wymowie, wymawiała z umysłu niewyraźnie, aby zatrzeć ślady. W rezultacie rozmowa jej była jedynie niewyraźnym bełkotem; od czasu do czasu wyłaniały się rzadkie sylaby, których dama ta czuła się pewna. Swann sądził, że może z niej sobie lekko zażartować, ale pan Verdurin przyjął żarty jego chłodno.

— To taka zacna osoba — rzekł. — Przyznaję, że nie jest ołśniewająca, ale upewniam pana, że jest bardzo miła, kiedy z nią pogadać sam na sam.

— Nie wątpię — skwapliwie przyznał Swann. — Chciałem powiedzieć, że nie wydaje mi się „niepospolita” — dodał podkreślając ten przymiotnik — a ostatecznie, to jest raczej komplement!

— O — rzekł pan Verdurin — zadziwię pana, kiedy panu powiem, że ona pisze czarująco. Nie słyszał pan nigdy jej bratanka? Wspaniały, prawda, doktorze? Chce pan, poproszę go, żeby nam co zagrał?

— Ależ to będzie szczęście... — zaczął Swann, kiedy doktor przerwał mu z drwiącą miną. Cottard, wyuczysz się, że emfaza, uroczyste formuły, są w rozmowie przestarzałe, skoro usłyszał poważne słowo użyte serio — jak tutaj owo „szczęście” — sądził, że ten,

który go użył, daje dowód naiwności. A jeżeli co więcej słowo, choćby najpotoczniejsze, znalazło się przypadkiem w tym, co doktor nazywał „starą kliszą”, Cottard wnosił, iż rozpoczęte zdanie jest śmieszne i kończył je ironicznie komunałem, podsuwając go niejako przedmówcy, któremu wcale się o nim nie śniło.

— Szczęście dla Francji! — wykrzyknął złośliwie, wznosząc ręce z emfazą.

Pan Verdurin nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

— Co oni się tam tak chichoczą, ci dobrzy ludzie! Mam wrażenie, że wam nie grozi melancholia w waszym kąciku — wykrzyknęła pani Verdurin. — Jeżeli myślicie, że mnie to bawi siedzieć tu samej na pokucie!... — dodała rozkapryszonym tonem dziecka.

Pani Verdurin siedziała na wysokim drewnianym krześle, które ofiarował jej pewien skrzypek, Szwed. Zachowała je, mimo że kształtem przypominało zydel i klóciło się z jej pięknymi starymi meblami; ale lubiła trzymać na widoku podarki, jakie wierni mieli zwyczaj robić jej od czasu do czasu; chciała, aby ofiarodawcy mieli przyjemność, poznając swoje dary. Starła się ich skłonić, aby się ograniczali do kwiatów i cukierków, które się przynajmniej zużywają; ale na próżno. Toteż pani Verdurin miała całą kolekcję futer na nogi, poduszek, zegarów, parawanów, barometrów, figurynek kojarzących obfitość, monotonię i bezstylowość gwiazdkowych prezentów.

Z tego wyniosłego posterunku brała pani Verdurin z zapalem udział w rozmowie wiernych i bawiła się ich figlami; ale od wypadku ze szczęką wyrzekła się trudu parskania rzeczywistym śmiechem: zastąpiła go konwencjonalną mimiką, która bez zmęczenia i ryzyka oznaczała, że się śmieje do łez. Sztuczka ta stanowiła rozpacz pana Verdurin, który długo miał tę ambicję, aby być równie miłym jak jego żona; ale śmiejąc się na dobre, szybko tracił oddech, zdystansowany przez ową imitację nieustannej wesołości. Za najmniejszym słówkiem, które wypuścił jakiś wierny przeciw „nudziarzowi” lub przeciw eks-wiernemu, wtrąconemu do obozu „nudziarzy”, pani Verdurin wydawała lekki krzyk, zamykała całkowicie ptasie oczy, które zaczynało przesłaniać bielmo, i nagle — jak gdyby ledwo miała czas ukryć nieprzystojne widowisko lub zapobiec śmiertelnemu wypadkowi — szczerze zanurzając twarz w rękach, robiła wrażenie, że sili się powściągnąć śmiech, który, gdyby mu się poddała, przyprawiłby ją o omdlenie. I tak oszołomiona wesołością wiernych, pijana solidarnością, obmową i aprobatą, usadowiona na swojej żerdce, podobna do ptaka, któremu zmaczano biszkopt w gorącym winie, pani Verdurin szlochała z rozlewności towarzyskiej.

Tymczasem pan Verdurin, spytawszy Swanna czy pozwoli mu zapalić fajeczkę („tutaj nie robimy ceremonii, jesteśmy między kolegami”), prosił młodego artystę, aby siadł do fortepianu.

— Nie nudźże go, nie po to przyszedł, żeby go dręczyć! — wykrzyknęła pani Verdurin — ja nie chcę, żeby go tutaj dręczono!

— Ale czemu by go to miało nudzić? — rzekł pan Verdurin. — Pan Swann nie zna może sonaty *f-dur*, którą odkryliśmy: zagra ją nam w układzie na fortepian.

— Och, nie, nie, nie moją sonatę — krzyczała pani Verdurin — ani myślę z płaczu załapać kataru i newralgii jak ostatnim razem; dziękuję za ten przysmak, nie mam ochoty zaczynać na nowo; wy sobie dobrzy jesteście; zaraz widać, że nie wy odlegujecie potem tydzień w łóżku.

Sценка ta, powtarzająca się za każdym razem, kiedy pianista miał grać, zachwycała przyjaciół domu zupełnie tak, jak gdyby była nowa, jako dowód czarującej oryginalności „pryncypałki” i jej wrażliwości muzycznej. Stojący obok dawali znak tym, którzy opodal palili lub grali w karty, aby się zbliżyli, że się coś dzieje, szepcząc tak, jak się robi w Reichstagu w sensacyjnych momentach: „Słuchajcie, słuchajcie”. I nazajutrz kazano żalować nieobecny, że ich nie było, że scena była jeszcze zabawniejsza niż zazwyczaj.

— Więc dobrze, już, postanowione — rzekł pan Verdurin — zagra tylko andante.

— Tylko andante, dobry ty sobie jesteś! — wykrzyknęła pani Verdurin. — To właśnie andante odejmuje mi ręce i nogi. Wspaniały jest nasz pryncypał! To zupełnie tak jakby przy *Dziwującej* powiedział: posłuchamy tylko finału, albo z *Norymberskich* tylko uwertury!

Jednakże doktor nakłaniał panią Verdurin, aby pozwoliła grać pianiście; nie aby powątpiewał o prawdzie wstrząsów, o jakie muzyka ją przyprawia — rozpoznawał w nich

pewne stany neurasteniczne — ale przez zwyczaj właściwy wielu lekarzom, którzy natchmiasz są gotowi złagodzić srogość swoich przepisów, z chwilą gdy wchodzi w grę rzecz w ich poczuciu o wiele ważniejsza, jakies zebranie towarzyskie na przykład, w którym biorą oni udział, a w którym pacjent ich jest jednym z głównych elementów. I radzą mu, aby na ten raz zapomniał o swojej niestrawności lub grypie.

— Tym razem nie rozchoruje się pani, ja ręczę — rzekł, starając się sugestionować panią Verdurin spojrzeniem. — A jeżeli się pani rozchoruje, będziemy panią leczyli.

— Na pewno? — odparła pani Verdurin, jak gdyby wobec takiej nadziei nie pozostało jej nic, tylko skapitulować. A może wciąż powtarzając, że się rozchoruje, zapominała też chwilami, że to jest kłamstwo i wchodziła w duszę osoby chorej. Otóż chorzy, zmęczeni ciągłą zależnością własnego stanu zdrowia od ich rozsądku, lubią ulegać wierze, że będą mogli robić bezkarnie wszystko, co im się podoba i co im zwykle szkodzi, pod warunkiem, że się oddadzą w ręce potężnej istoty, która bez żadnego wysiłku z ich strony, jednym zaklęciem albo jedną pigułką postawi ich znów na nogi.

Odetta siedła na haftowanej kanapie koło fortepianu.

— Pani wie, ja mam swój kącik — rzekła do pani Verdurin.

Ta widząc, że Swann siadł na krzesło, kazała mu wstać:

— Niedobrze panu tutaj; niechże pan siada koło Odety; prawda, Odeto, zrobisz panu Swannowi trochę miejsca?

— Jaki ładny *beauvais* — rzekł przed zajęciem miejsca Swann, który chciał być miły.

— Och, bardzo jestem rada, że pan się poznał na mojej kanapie — odparła pani Verdurin. — I uprzedzam pana, jeżeli pan chce zobaczyć drugą równie piękną, niech pan z tego od razu zrezygnuje. Nigdy nie zrobili nic podobnego. Krzeselka też są cudy. Później pan to obejrzy. Każdy brąz odpowiada tematowi haftu na siedzeniu; wie pan, może się pan ubawić, jeśli pan chce to obejrzeć, przyrzekam panu chwilę prawdziwej uciechy. Choćby tylko same fryzy na szlakach; o, patrz pan, te listki wina na czerwonym tle Niedźwiedzia i Winogron. Jak to rysowane! Co pan na to; myślę, że ci to już chyba umieli rysować! Czy nie jest apetyczne to winogrono? Mąż twierdzi, że ja nie lubię owoców, dlatego że ich jadam mniej od niego. Wcale nie, ja jestem większa łakotnisia niż wy wszyscy, ale nie potrzebuję pakować sobie do żołądka, syć się oczami. Czego wy się tam śmiejecie wszyscy? Spytajcie się doktora, powie wam, że te winogrona wystarczą, aby mnie przeczyścić. Inni robią kurację w Fontainebleau, ja robię kurację swoimi Beauvais. Ale, panie Swann, nie opuści pan tego domu, nie dotknąwszy brązów na oparciu. Co pan powie na tę patynę: słodkie, co? Ale nie całą garścią, niech pan dotknie palcami.

— Och, jeżeli pani Verdurin zacznie obmacywać brązy, nie usłyszymy muzyki dziś wieczór — rzekł malarz.

— Cicho siedź, panie mistrzu, brzydal z ciebie. W gruncie — rzekła, obracając się do Swanna — zabraniają nam, kobietom, rzeczy o wiele mniej rozkoszliwych! Toż nie ma ciała, które by można z tym porównać. Kiedy pan Verdurin czynił mi ten zaszczyt, aby być o mnie zazdrosnym, — no, bądźże choć uprzejmy, nie mów, że nigdy nie byłes zazdrosny...

— Ależ ja absolutnie nic nie mówię. Doktorze, biorę pana za świadka: czy ja co powiedziałem?

Swann dotykał przez grzeczność brązów, nie śmiał zaraz przestać.

— No, popieści je pan później; teraz się pana popieści, popieści się pana w ucho; pan to lubi, mam nadzieję; nasz chłopczyzna się tym zajmie.

Kiedy pianista skończył, Swann był dlań jeszcze uprzejmiejszy niż inni obecni. Oto czemu:

Zeszłego roku na jakimś wieczorze Swann słyszał utwór na fortepian i skrzypce. Zrazu poddawał się po prostu zmysłowemu czarowi dźwięków sączonych przez instrumenty. I to już była wielka przyjemność, kiedy naraz, pod wąską, ciągłą, gęstą i dominującą linią skrzypiec, ujrzał nagle, jak się stara wzniesć płynny plusk, masa partii fortepianowej, wielokształtna, niepodzielna, szeroka, wstrząsana niby płową grą fal, które urzeka i bemo-lizuje blask księżyca. Ale w pewnej chwili, mimo iż nie mogąc dobrze rozpoznać konturu, dać nazwy temu, co mu się podobało, Swann nagle oczarowany siłą się pochwycić frazę lub harmonię — sam nie wiedział co — która spływając, rozwarła mu duszę szerzej, tak jak zapach pewnych róż krążący w wilgotnej aurze wieczornej ma zdolność rozszerzania



naszych nozdrzy. Może dlatego, że się Swann nie znał na muzyce, wrażenia jego były tak mętne; to są może zresztą jedyne wrażenia czysto muzyczne, nieoczekiwane, całkowicie oryginalne, niedające się przenieść w inną kategorię wrażeń. Przez chwilę stan tego rodzaju jest, aby tak rzec, *sine materia*. Bez wątpienia nuty, jakie słyszymy wówczas, dążą już wedle swej wysokości i jakości do tego, aby pokryć przed naszymi oczami powierzchnie o rozmaitych wymiarach, kreślić arabeski, dać nam uczucie szerokości, ciągłości, stałości, kaprysu. Ale nuty uciekają, zanim te wrażenia ukształtują się w nas na tyle, aby ich nie zalały inne, już rodzące się z nut późniejszych lub nawet równoczesnych. I owa płynność nadal pochłaniałaby i zatapiała motywy, które wyłaniają się z niej chwilami — ledwie pochwytnie — aby natychmiast dać nurka i zniknąć, dostępne nam jedynie przez uczucie osobliwej rozkoszy, niepodobne do opisanania, do zapamiętania, do nazwania, niewysłowione, gdyby pamięć — niby robotnik zakładający trwale fundamenty w głębi fal — sporządzając podobizny tych ulotnych fraz, nie pozwalała nam porównać ich z następnymi i różniczkować ich. I tak ledwie rozkoszne wrażenie pierzchło, już pamięć dostarczyła Swannowi pobieżnej i doraźnej tego wrażenia transkrypcji; objął ją wzrokiem, podczas gdy utwór biegł dalej, tak że, kiedy to samo wrażenie wróciło nagle, zdołał je już pochwycić. Uzmysłowił sobie jego rozmiar, symetrię, wykres, jego ekspresję; miał przed sobą owo coś, co już nie jest czystą muzyką, ale rysunkiem, architekturą, myślą, i co pozwala przypominać sobie muzykę. Tym razem Swann rozpoznał wyraźnie frazę, wznoszącą się przez parę chwil nad dźwięczne fale. Zarazem zbudziła w nim ona osobliwe rozkosze, o których przed usłyszeniem jej nie miał pojęcia; wiedział, że nic prócz niej nie mogłoby mu ich objawić; uczuł dla niej jak gdyby przypływ nieznannej miłości.

Powolnym rytmem kierowała go ta fraza to tu, to tam, potem jeszcze kędyś indziej, ku jakiemuś szlachetnemu, niepojętemu, a wyraźnemu szczęściu. I naraz, w punkcie, do którego doszła i skąd gotował się iść za nią, nagle, po krótkiej pauzie, zmieniała kierunek; i nowym rytmem, szybszym, drobnym, melancholijnym, nieustającym i łagodnym, ciągnęła go za sobą ku nieznanym widnokręgom. Potem znikła. Zapragnął namiętnie ujrzeć ją po raz trzeci. Pojawiła się w istocie, ale nie mówiąc doń wyraźniej, sprawiając mu nawet rozkosz mniej głęboką. Ale wróciwszy do domu, Swann wciąż jej pragnął; był niby człowiek, w którego życie przechodząca i ujrzana na chwilę kobieta wniosła obraz nowego piękna, podnoszącego skalę własnej jego wrażliwości; i nie wie nawet, czy zdoła kiedy ujrzeć tę, którą już kocha, a której nie zna nawet z imienia.

Nawet ta miłość do frazy muzycznej zdawała się na chwilę rodzić w Swannie możliwość jakby odmłodzenia. Od tak dawna przestał zwracać swoje życie do idealnego celu, ograniczając je do pogoni za codzienną przyjemnością, iż sądził — nie powiadając wprawdzie sobie tego jasno — że to się nie zmieni do śmierci. Co więcej, nie czując już podniosłych idei w sobie, przestawał wierzyć w ich realność, nie mogąc jednak zaprzeczyć całkowicie jej istnieniu. Toteż przywykł chować się w myśli bez znaczenia, które mu pozwalały omijać istotę rzeczy. Tak jak nie pytał siebie, czy nie byłoby lepiej przestać bywać w świecie, ale w zamian wiedział całkiem na pewno, że o ile przyjął jakieś zaproszenie, musi się na nie stawić; że o ile nie oddał potem wizyty, trzeba mu rzucić bilety; tak samo w rozmowie nie siłił się nigdy bronić z przejęciem osobistego poglądu, ale dostarczał szczegółów technicznych, które miały poniekąd wartość same w sobie, a pozwalały mu nie angażować się. Był niezmiernie ścisły w przepisie kucharskim, w dacie urodzenia lub śmierci malarza, w nomenklaturze jego dzieł. Czasem mimo wszystko puścił się na sąd o jakim dziele, o sposobie pojmowania życia, ale dawał wówczas własnym słowem ironiczny tonik, jak gdyby nie cały solidaryzował się z tym, co mówił.

Bywają ludzie chorowici, u których nagle zmiana klimatu, trybu życia, czasem jakieś organiczne, samorzutne i tajemnicze przeobrażenie, sprowadzają taką poprawę, że chory zaczyna brać pod uwagę nieoczekiwaną i późną możliwość całkiem odmiennej egzystencji. Tak Swann we wspomnieniu usłyszonej frazy, w niektórych sonatach, które sobie kazał przegrać, badając, czy nie odkryje tam jej motywu, znajdował w sobie obecność jednej z owych niewidzialnych realności, w które przestał już wierzyć. Muzyka miała jak gdyby organiczny wpływ na jego oschłość duchową; odczuwał na nowo pragnienie i niemal siłę poświęcenia życia owym realnościom. Ale nie mogąc się dowiedzieć, czyj jest ów posłyszany przypadkowo utwór, nie mógł się o niego wystarać i zapomniał go w końcu. Spotkał wprawdzie w ciągu tygodnia kilka osób, które były jak on na owym wiecz-

rze i wypytywał się ich; ale wiele z nich przybyło po koncercie albo wyszło przedtem; niektórzy byli podczas muzyki, ale przeszli na rozmowę do innego salonu; inni zostali, aby słuchać, ale słyszeli nie więcej od tamtych. Co do gospodarzy domu, wiedzieli, że to jest nowy utwór, który zaangażowani artyści ofiarowali się zaprodukować; że jednak artyści owi pojechali następnie na tournée, Swann nie mógł się dowiedzieć więcej. Miał wprawdzie przyjaciół muzyków, ale, mimo że sobie przypominał odrębną i niepodobną do określenia rozkosz, jaką mu sprawiła ta fraza, mimo iż miał przed oczami jej rysunek, nie był wszelako zdolny im jej zanucić. Potem przestał o tym myśleć.

Otóż ledwie młody pianista w salonie pani Verdurin zaczął grać, nagle, tuż po wysokiej nucie wytrzymanej przez dwa takty, Swann ujrzał, jak zbliża się ów motyw, wymykając się spod dźwięczności długiej i napiętej niby brzmiąca zasłona, pokrywająca tajemnicę jego poczucia. Poznał ukochaną frazę, tajemną, szemrzącą i rytmiczną, pachnącą i lotną. I była tak odrębna, miała czar tak swoisty i niezastąpiony, że Swann miał uczucie, jakby w salonie u przyjaciół spotkał osobę, którą zachwycił się na ulicy, wątpiąc, aby ją kiedy mógł odnaleźć. W końcu cofnęła się, znacząca, czujna, w gąszcz własnego zapachu, zostawiając na twarzy Swanna odblask swego uśmiechu. Ale teraz mógł spytać o imię nieznamojem (powiedziano mu, że to jest andante z sonaty skrzypcowej Vinteuila); miał ją, mógł ją mieć u siebie tak często, jak zapragnie, mógł próbować nauczyć się jej mowy i jej sekretu.

Toteż kiedy pianista skończył, Swann zbliżył się, aby mu wyrazić wdzięczność, z żywością, która spodobała się pani Verdurin.

— Co za czarownik, nieprawdaż — rzekła do Swanna — jak to małe ładaco czuje tę sonatę! Nie przypuszczał pan, że fortepian może sięgnąć aż tak daleko. To było wszystko, daję słowo, z wyjątkiem fortepianu! Za każdym razem łapię się na to; zdaje mi się, że słyszę orkiestrę. To nawet piękniejsze niż orkiestra, pełniejsze.

Młody pianista skłonił się z uśmiechem i rzekł, podkreślając słowa, jakby mówił coś dowcipnego:

— Jest pani zbyt pobłażliwa.

I podczas gdy pani Verdurin mówiła do męża: „No, dajże mu oranżady, zarobił na nią”, Swann opowiadał Odecie, jak się zakochał w tej frazie. Kiedy pani Verdurin powiedziała z daleka: „No co! zdaje się, że ten pan opowiada ci ładne rzeczy, Odeto”, ona odparła: „Tak, bardzo ładne”; i Swannowi prostota jej wydała się uroczą. Zarazem wypytywał się o Vinteuila, o jego utwory, o epokę życia, w której napisał tę sonatę, i co mogła znaczyć dla niego ta mała fraza — to zwłaszcza byłby chciał wiedzieć.

Ale wszyscy ci ludzie, którzy głosili podziw dla muzyka (kiedy Swann powiedział, że sonata jest naprawdę ładna, pani Verdurin wykrzyknęła: „Ha, ha! bardzo panu wierzę, że jest ładna! Ależ nie wolno się przyznać, że się nie zna sonaty Vinteuila, nie ma się prawa nie znać tego!”), a malarz dodał: „Och, tak, to jest zupełnie wielka rzecz, nieprawdaż. To nie jest, zgódźmy się na to, »kasa« ani »publika«, ale to jest cholerny wstrząs dla artystów”), wszyscy ci ludzie jak gdyby nigdy nie stawiali sobie owych pytań, niezdolni byli na nie odpowiedzieć.

Nawet na parę specjalnych uwag, jakie zrobił Swann o swojej ulubionej frazie, pani Verdurin odrzekła:

— A to zabawne, nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Powiem panu, że ja nie bardzo lubię zaglądać wszystkiemu pod fartuszek, szukać kwadratury koła; my tutaj nie tracimy czasu na rozszczepianie włosa na czworo, to nie jest specjalność firmy.

Doktor Cottard patrzył na panią Verdurin z błogim podziwem i z naukowym zainteresowaniem, widząc, jak igra na fali gotowych zwrotów. Zresztą doktor i jego żona z instynktownym rozsądkiem, jaki miewają też osoby z ludu, strzegli się wygłaszać swój sąd lub udawać podziw dla muzyki, której — wyznawali to sobie wzajem, znalazłszy się w domu — tak samo nie rozumieli jak malarstwa „pana mistrza”. Z czaru, wdzięku i z form przyrody publiczność zna tylko to, co zaczerpnęła w szablonach pomalą przyswojonej sztuki, artysta zaś oryginalny zaczyna od odrzucenia tych szablonów; dlatego państwo Cottard, będący w tej mierze obrazem publiczności, ani w sonacie Vinteuila, ani w portretach malarza nie znajdowali tego, co dla nich stanowiło harmonię muzyki i piękno malarstwa. Kiedy pianista grał sonatę, zdawało się im, że łowi na chybił trafił na klawiaturze nuty w istocie niezwiązane w formy, do których przywykli; że malarz na

oślepił ciska farby na płótno. Kiedy mogli rozpoznać na tym płótnie jakiś kształt, zdawał się im ciężki, gruby (to znaczy pozbawiony elegancji owych szkół malarskich, poprzez które widzieli nawet na ulicy żywe osoby) i pozbawiony prawdy, tak jakby malarz nie wiedział, jak wygląda ramię, ani że kobiety nie mają włosów lila.

Jednakże, skoro się wierni rozproszyli, doktor uczuł, że nadarza się szczęśliwa sposobność; gdy pani Verdurin kończyła swoje zachwyty nad sonatą Vinteuila, Cottard rzucił się w wodę niby początkujący pływak, który wybiera chwilę, gdy nie ma zbyt wielu świadków.

— Zatem to jest to, co się nazywa muzyk *di primo cartello*! — wykrzyknął z nagłą determinacją.

Swann dowiedział się dopiero wówczas, że świeże pojawienie się sonaty Vinteuila zrobiło wielkie wrażenie w kołach muzycznych o tendencjach bardzo postępowych, ale było zupełnie nieznaną szerokiej publiczności.

— Znam kogoś, kto się nazywa Vinteuil — rzekł Swann, myśląc o nauczycielu fortepianu siostrzycy babki.

— To może on? — wykrzyknęła pani Verdurin.

— Och, nie! — rzekł Swann, śmiejąc się. — Gdyby go pani widziała bodaj przez dwie minuty, nie zadałaby pani tego pytania.

— Zatem postawić pytanie znaczy rozwiązać je? — rzekł doktor.

— To mógłby być jakiś krewny — podjął Swann — byłoby to dosyć smutne, ale ostatecznie genialny człowiek może być krewnym starego fujary. Gdyby tak było, wyznaję, iż nie byłoby męczarni, której bym się nie poddał, aby stary fujara przedstawił mnie autorowi sonaty; najpierw męczarni obcowania ze starym fujarą, co musi być okropne.

Malarz wiedział, że Vinteuil jest w tej chwili bardzo chory i że doktor Potain boi się, czy zdoła go ocalić.

— Jak to! — wykrzyknęła pani Verdurin — są jeszcze ludzie, którzy się leczą u Potaina!

— Och, pani Verdurin! — rzekł Cottard, mizdrząc się — zapomina pani, że mowa o jednym z moich kolegów, powinien bym rzec: moich mistrzów.

Malarz słyszał, że Vinteuilowi grozi obłąd. I twierdził, że można to poznać z pewnych ustępów sonaty. Swannowi myśl ta wydała się możeby, ale go wstrząsnęła; ponieważ dzieło czystej muzyki nie zawiera żadnych stosunków logicznych, których naruszenie wskazuje szaleństwo, rozpoznany w sonacie obłąd wydawał mu się czymś równie tajemniczym jak obłąd suki, konia, które się wszelako zdarzają.

— Daj mi pan pokój, doktorze, ze swymi mistrzami; umie pan dziesięć razy więcej od niego — odparła pani Verdurin tonem osoby, która ma odwagę swoich przekonań i śmiało staje do oczu tym, co są innego zdania. — Pan przynajmniej nie zabija pacjentów!

— Ależ pani, on jest w Akademii — odparł doktor z ironią. — Jeżeli jakiś chory woli umrzeć z ręki potentata wiedzy... To o wiele szykowniej móc powiedzieć: „Leczy mnie Potain”.

— Szykowniej? — rzekła pani Verdurin. — Więc teraz medycyna jest kwestią szyku? Nie wiedziałam tego... Paradny pan jest! — wykrzyknęła nagle, kryjąc twarz w dłoniach. — A ja, dobra dusza, dyskutowałam poważnie, nie widząc, że pan ze mnie struga wariata.

Co do pana Verdurin, ten, uważając, że trochę męczące jest śmiać się z tak skromnej przyczyny, zadowolił się pyknięciem z fajeczki i myślał ze smutkiem, że nigdy nie zdoła doścignąć żony na terenie uprzejmości.

— Wiesz, że twój przyjaciel bardzo się nam podoba — rzekła pani Verdurin do Odety w chwili pożegnania. — Jest prosty, czarujący; jeżeli zawsze będziesz miała w zanadrzu tylko takich przyjaciół, możesz nam ich sprowadzać.

Pan Verdurin zauważył, że jednak Swann nie docenił ciotki pianisty.

— Czuł się tutaj trochę obco, nieboże — odparła pani Verdurin. — Nie żądasz przecie, aby będąc pierwszy raz, miał już ten *swój* ton, jaki ma Cottard należący do paczki od wielu lat. Pierwsze koty za płoty; to było potrzebne, aby poznać, z kim sprawa. Odeto, ułożyliśmy, że pan Swann spotka się z nami jutro w Châtelet. Może byś po niego wstąpiła?

— Nie, on nie chce.

— A, ostatecznie, jak sama wolisz. Byle tylko nie skrewił nam w ostatniej chwili!

Ku wielkiemu zdziwieniu pani Verdurin, Swann nie skrewił nigdy. Spotykał się z nimi wszędzie, czasem w podmiejskich restauracjach, dokąd chodziło się jeszcze rzadko, bo to nie był sezon; częściej w teatrze, który pani Verdurin bardzo lubiła. Jednego dnia powiedziała przy nim, że w dniu premier i galowych przedstawień bardzo by się jej przydało *coupe-file*, że mocno im dokuczyło nie mieć takiej karty w dniu pogrzebu Gambetty. Swann, który nigdy nie mówił o swoich świetnych stosunkach, mówił natomiast o innych, ostatnich, uważając, że niedelikatnie byłoby je ukrywać (a do tych nauczył się w *faubourg Saint-Germain* zaliczać swoje stosunki ze światem oficjalnym), odparł:

— Obiecuję pani się tym zająć. Będzie pani miała swoje *coupe-file* na wznowienie *Daniszewych*; właśnie mam jutro śniadanie w Elizeum, gdzie będzie prefekt policji.

— Jak to, w Elizeum? — krzyknął doktor Cottard grzmiącym głosem.

— Tak, u pana Grévy, — odparł Swann nieco zażenowany wrażeniem, jakie wywarły jego słowa.

A malarz rzekł do doktora jowialnie:

— To pana często chwytają?

Zazwyczaj, raz otrzymawszy wyjaśnienie, Cottard powiadał: „A! dobrze, dobrze, rozumiem” i uspokajał się. Ale tym razem ostatnie słowa Swanna, zamiast mu przynieść zwykle ukojenie, doprowadziły go do szczytu zdumienia, iż człowiek, z którym je obiad, który nie posiada ani oficjalnego stanowiska, ani żadnego dostojeństwa, styka się z głową państwa.

— Jak to: tak, u pana Grévy? Pan zna pana Grévy? — rzekł do Swanna z tępą i niedowierzającą miną gwardzisty, któremu nieznajomy facet powiada, że się chce widzieć z prezydentem republiki i który, zgadując z tych słów „z kim ma do czynienia” (jak powiadają dzienniki), upewnia biednego wariata, iż będzie natychmiast przyjęty, kierując go do specjalnej infirmerii policyjnej.

— Znam go trochę, mamy wspólnych przyjaciół (nie śmiał powiedzieć, że mówi o księciu Walii); zresztą on bardzo łatwo zaprasza. Upewniam pana, że te śniadania nie są w niczym specjalnie zabawne; są zresztą bardzo proste, nie ma nigdy przy stole więcej niż osiem osób — odparł Swann, który starał się zatrzeć to, co się doktorowi mogło wydawać zbyt świetne w jego stosunkach z prezydentem republiki. Natychmiast Cottard, polegając na słowach Swanna, pogodził się z tym, że zaproszenie pana Grévy jest rzeczą mało ważną i nader pospolitą. Z tą chwilą nie dziwił się już, że Swann, jak każdy inny, bywa w Elizeum, i nawet żałował go trochę, że musi chodzić na śniadania nudne wedle opinii samego gościa.

— A, dobrze, dobrze, rozumiem — mówił tonem celnika, nieufnego przed chwilą, ale który, otrzymawszy wyjaśnienia, daje wizę i przepuszcza kogoś, nie każąc mu otwierać walizek.

— Ach, bardzo panu wierzę, że te śniadania nie muszą być zabawne; ma pan zdrowie, żeby tam chodzić — mówiła pani Verdurin. Dla niej, prezydent republiki był jak inni tylko „nudziarzem”, ale szczególnie groźnym, ponieważ rozporządzał środkami korupcji i przymusu, które użyte w stosunku do „wiernych” mogłyby ich w końcu przyprawić o dezercję. — Zdaje się, że on jest głuchy jak pień i że je palcami.

— W istocie, jeżeli tak, to nie musi być dla pana bardzo zabawne tam chodzić — rzekł doktor z odcieniem współczucia; po czym przypominając sobie liczbę ośmiu osób — Czy to są śniadania intymne? — spytał żywo, bardziej jeszcze z zapalem lingwisty niż z ciekawością kibica.

Ale urok, jaki miał w oczach doktora prezydent Republiki, zwyciężył wreszcie i skromność Swanna, i niechęć pani Verdurin; przy każdym obiedzie Cottard pytał z zainteresowaniem: „Czy ujrzymy dziś pana Swanna? Pozostaje w osobistych stosunkach z panem Grévy. Pan Swann jest tym, co nazywamy gentleman?”. Doktor posunął się nawet do ofiarowania Swannowi karty na wystawę dentystyczną.

— Może pan wprowadzić osoby będące w pana towarzystwie, ale psów się nie wpuszcza. Rozumie pan, mówię to dlatego, że miałem przyjaciół, którzy nie wiedzieli o tym i sparzyli się.

Co do pana Verdurin, zauważył on złe wrażenie, jakie uczyniło na jego żonie odkrycie potężnych, a tak ukrywanych stosunków Swanna.

Kiedy nie było jakiej wycieczki za miasto, Swann spotykał „paczkę” u Verdurinów, ale przychodził aż wieczór, prawie nigdy zaś na obiad, mimo nalegań Odety.

— Mogłabym nawet sama zjeść obiad z panem, gdyby pan wołał — mówiła.

— A pani Verdurin?

— Och, to bardzo łatwe. Powiedziałabym po prostu, że suknia nie była gotowa, że cab za późno zajechał. Jest zawsze sposób.

— Bardzo pani miła.

Ale Swann myślał, że o ile będzie okazywał Odecie (godząc się widywać ją jedynie po obiedzie), iż są przyjemności, które woli od jej towarzystwa, sympatia jej dla niego dłużej nie zazna przesytu. Z drugiej strony, ponad urodę Odety przekładając nieskończenie krasę młodej gryzетки, do której się zapalił, pulchnej i świeżej jak róża, wołał spędzać część wieczoru z nią, mając pewność, że ujrzy Odetę później. Z tych samych przyczyn nie godził się nigdy, aby Odeta wstąpiła po niego i aby razem szli do państwa Verdurin. Dziewczyna czekała w pobliżu jego domu na rogu ulicy wiadomej stangretowi Swanna; wsiadała i spoczywała w ramionach Swanna aż do chwili, w której powóz zatrzymał się przed Verdurinami. Gdy wchodził, pani Verdurin, pokazując różę, które Swann przysłał jej rano, mówiła: „Muszę pana połączyć”, po czym wskazywała mu miejsce obok Odety; a pianista grał dla nich dwojga frazę Vinteuila, która była niby hymnem narodowym ich miłości. Zaczynał od tremolo skrzypcowego, które wypełnia kilka taktów na pierwszym planie; potem nagle rozsuwa się niejako i — niby na obrazach Pietera de Hooch, pogłębionych wąską ramą uchylonych drzwi — w oddali, w puchu wnikaającego światła, zjawiała się owa fraza, jakby innego koloru, roztańczona, sielska, nawiasowa, ulotna, należąca do innego świata. Przechodziła w prostych i nieśmiertelnych fałdach, rozdając po drodze dary swego wdzięku, z tym samym niewysłowionym uśmiechem; ale Swannowi zdawało się obecnie, że wyczuwa w niej jakby rozczarowanie. Jak gdyby znała czczość owego szczęścia, do którego wskazywała drogę. Miała w swoim lekkim wdzięku coś skończonego, niby zobojętnienie następujące po żalu. Ale Swann niewiele dbał o to; brał ją nie tyle samą w sobie — w tym, co mogła wyrażać dla muzyka niewiedzącego wówczas, gdy ją tworzył o istnieniu Swanna i Odety, i dla tych wszystkich, którzy będą jej słuchali przez wieki — ile jako rękomię, jako pamiątkę swojej własnej miłości. Tęgo sensu nabierała owa fraza nawet dla Verdurinów, nawet dla pianisty, każąc im myśleć równocześnie o Odecie i o Swannie, łącząc ich dwoje. Do tego stopnia, że kiedy Odeta przez kaprys poprosiła go o to, Swann wyrzekł się zamiaru poznania całej sonaty, z której nadal znał tylko ten ustęp.

— Po co panu reszta? — mówiła. — To jest nasz kawałek.

I nawet w chwili, gdy owa fraza przechodziła tak bliska, a mimo to idąca w nieskończoność, Swann cierpiał na myśl, że ta urocza melodia, zwracając się do nich, nie zna ich; żałował niemal, że ona ma jakieś znaczenie, jakieś własne i stałe piękno, obce im dwojgu. Tak w darowanych nam klejnotach lub nawet w listach pisanych przez ukochaną mamy pretensje do wody kamienia i do słów listu, że nie powstały wyłącznie z esencji przelotnego związku i poszczególniej istoty.

Często zdarzało się Swannowi przed wizytą u Verdurinów zabawić się zbyt długo ze swoją gryzетką; skoro pianista przegrał sakramentalną frazę, Swann spostrzegł, że już nadchodzi dla Odety czas powrotu. Odwoził ją do jej willi przy ulicy La Pérouse, za Łukiem Tryumfalnym. I może aby nie żądać od niej wszystkich łask, poświęcał — jako mniej dla siebie niezbędną — przyjemność widzenia jej wcześniej, przybycia do Verdurinów razem z nią, zachowując natomiast owo przyznane mu przez Odetę prawo wyjścia z nią razem; przywilej tym cenniejszy, bo dzięki niemu Swann miał wrażenie, że nikt już nie widzi Odety, nikt nie staje między nimi, nie przeszkadza jej być jeszcze z nim, skoro się rozstali.

Tak więc Odeta wracała w powozie Swanna; jednego wieczora, kiedy wysiadła, a on rzekł: „do jutra”, ona zerwała szybko w ogródku przed domem ostatni złocien i dała mu go, nim odjechał: Swann trzymał go przy ustach w czasie powrotu, a kiedy po kilku dniach kwiat zwiędł, schował go troskliwie do biurka.

Ale nigdy nie wstępował do Odety. Dwa razy tylko, popołudniu, zaszedł wziąć udział w owej tak ważnej dla niej czynności „picia herbaty”. Okolica ta składała się prawie wyłącznie z małych sąsiadujących z sobą willi, których monotonię przerywała nagle jakaś

żałosna rudera, historyczne świadectwo i plugawy szczątek czasu, kiedy owa dzielnica zażywała jeszcze złej sławy. Osamotnienie i pustka tych krótkich ulic, śnieg pozostawiony w ogrodzie na drzewach, niechlujny negliż sezonu, sąsiedztwo natury, dawały coś bardziej tajemniczego ciepła, kwiatom, które Swann zastawał wchodząc.

Po lewej, na wysokim parterze była sypialnia Odety wychodząca od tyłu na uliczkę równoległą z frontem. Schody wiodły do salonu i buduaru, pośród ciemno malowanych ścian, na których wisiały wschodnie materie i łańcuchy tureckich różańców. Wielka japońska latarnia umocowana na jedwabnym sznurze była — aby nie pozbawić gości komfortu zachodniej cywilizacji — przerobiona na gazową. Salon poprzedzała szczupła sionka, której ściany, opatrzone złożoną drewnianą kratą, otaczała w całej ich długości prostokątna skrzynka; tam niby w cieplarni kwitły wielkie złocienie, rzadkie jeszcze w owej epoce, ale bardzo dalekie od tych, które później udało się ogrodnikom wyhodować. Panująca od poprzedniego roku moda na te kwiaty drażniła Swanna; ale tym razem z przyjemnością patrzył na półmrok pokoju prążkowany różowo, pomarańczowo i biało pachnącymi promieniami owych ulotnych gwiazd, które rozpalają się w szare dni.

Odeta przyjęła Swanna w różowym jedwabnym szlafroczku, z nagą szyją i ramionami. Posadziła go koło siebie w jednym z tajemniczych zakątków, we framugach salonu chronionych przez olbrzymie palmy w chińskich wazach lub przez parawany pstrzące się fotografiami, kokardkami i wachlarzami. Powiedziała:

— Niedobrze panu tak, niech pan zaczeka, ja to panu urządzę lepiej.

I z uśmiechem próżności, jakby to był jakiś jej specjalny wynalazek, ułożyła za głową Swanna i pod jego nogami jedwabne japońskie poduszki, które miała, jak gdyby rozrzutna ich bogactwem i niedbająca na ich wartość. Lokaj wniósł kolejno liczne lampy, które, prawie wszystkie ukryte w bożkach chińskich, porozstawiane na różnych sprzętach niby na ołtarzach, paliły się osobno lub parami. Odeta śledziła surowo spod oka, czy służący dobrze je stawia i czy w dobrym miejscu. Lampy te w zupełnym prawie już zmierzchu zimowego popołudnia odtwarzały jak gdyby zachód słońca — trwalszy, różowszy i bardziej ludzki — pobudzając może do marzeń jakiegoś zakochanego, śledzącego z ulicy tajemnicę obecności, którą odsłaniały i kryły zarazem rozświecone szyby. Ale Odeta sądziła, że kiedy się postawi bodaj jedną lampę nie tam, gdzie trzeba, zepsuje się wrażenie całości, a własny jej portret, pomieszczony na skośnej, pluszem udrapowanej sztaludze, będzie źle oświetlony. Toteż gorączkowo śledziła ruchy niezręcznego lokaja i połajęła go żywo za to, że przeszedł tuż koło dwóch żardinier, które miała zwyczaj czyścić sama z obawy, aby ich nie uszkodzono. I teraz poszła je obejrzeć z bliska, aby się przekonać, czy im czego nie odbił. Uważała, że wszystkie te chińskie cacka mają „zabawny” kształt, a także storczyki, katleje zwłaszcza, które były obok złocieni jej ulubionym kwiatem i które miały tę wielką zaletę, że nie były podobne do kwiatów, ale że były niby z jedwabiu, z atlasu.

— Ta wygląda, jakby była wycięta z podszewki mojego płaszcza — rzekła do Swanna, pokazując mu orchideę z odcieniem szacunku dla tego tak „szykownego” kwiatu, dla wytwornej i nieprzewidzianej siostry, jaką dała jej natura, tak odległej od Odety na drabinie stworzeń, a mimo to wyrafinowanej, znacznie godniejszej od wielu kobiet, aby jej zrobiła miejsce w swoim salonie.

Pokazując Swannowi kolejno chimery o językach z płomienia zdobiące chiński wazon lub haftowane na ekranie, płatki bukietu storczyków, dromadera z emaliowanego srebra z oczyma inkrustowanymi rubinami, sąsiadujące na kominku z nefrytową ropuchą, Odeta udawała na przemian, że się boi złośliwości potworów lub że się śmieje z ich pociesznych kształtów; że się rumieni z nieskromności kwiatów i że odczuwa nieprzepartą chęć uściskania dromadera i ropuchy, które nazywała „pieszczochami”. I te mizdrzenia kontrastowały ze szczerością niektórych dewocji Odety, zwłaszcza do Matki Boskiej z Lagheth, która ją niegdyś, kiedy mieszkała w Nizzy, wyleczyła ze śmiertelnej choroby i której złoty medalik zawsze nosiła na sobie, przypisując mu bezgraniczną władzę.

Odeta przyrzuciła Swannowi „jego” herbatę, spytała: „Z cytryną czy ze śmietanką?”, a kiedy odpowiedział: „ze śmietanką”, dodała, śmiejąc się: „Cień obłoczka!”. I kiedy mu herbata smakowała, rzekła: „Widzi pan, że ja wiem, co pan lubi”.

Ta herbata wydała się w istocie Swannowi czymś równie szacownym jak samej Odecie; miłość zaś tak bardzo pragnie znaleźć dla siebie usprawiedliwienie, rękojmię trwałości, że szuka ich nawet w przyjemnościach, które przeciwnie, bez niej nie byłyby przyjemnością

i które kończą się z nią razem. I tak kiedy Swann pożegnał Odetę o siódmej, aby jechać przebrać się do domu, całą drogę powtarzał sobie w powozie, nie mogąc powstrzymać radości, jaką mu sprawiło to popołudnie:

— To byłoby bardzo miło mieć osobkę, u której można by znaleźć ową rzecz tak rzadką, dobrą herbatę.

W godzinę potem dostał słówko od Odety i poznał natychmiast strome pismo, w którym maniera angielskiej sztywności nakładała pozór dyscypliny niekształtnym literom; mniej uprzedzonym oczom zdradziłyby one może bezład myśli, niedostatek wykształcenia, brak szczerości i woli. Swann zapomniał u Odety etui do papierosów. „Czemu pan nie zostawił także swojego serca, nie oddałabym go panu”.

Druga wizyta Swanna miała może większe znaczenie. Udając się tego dnia do Odety, starał się ją sobie wyobrazić, jak to czynił za każdym razem, kiedy miał ją widzieć. Ale, aby się dopatrzeć w jej twarzy piękności, musiał ją sprowadzić do różowych i świeżych górnych partii policzków; poza tym twarz jej, tak często żółta i zmęczona, niekiedy poznaczona czerwonymi punkcikami, smuciła go jako dowód, że ideał jest nieosiągalny, a szczęście mierne. Przyniósł jej jakiś sztych, który pragnęła obejrzeć. Była trochę cierpiąca; przyjęła go w peniuarze *crêpe de Chine* lila, ściągając na piersiach na kształt płaszczka bogato haftowaną materię. Stała obok Swanna ze spływającymi po policzkach rozplecionymi włosami, z nogą lekko zgiętą w na wpół tanecznej pozie, aby się móc bez znużenia pochylić ku oglądanemu sztychowi. Z tak przegiętą głową, ze swymi wielkimi oczami, zmęczonymi i posepnymi, o ile się nie ożywiła, Odeta uderzyła Swanna podobieństwem z twarzą Zefory, córki Jethra, widniejącej na fresku Kaplicy Sykstyńskiej. Swann miał zawsze to szczególne upodobanie, że lubił w obrazach mistrzów odnajdywać nie tylko ogólne cechy otaczającej nas rzeczywistości, ale i to, co wydaje się najmniej podatne do uogólnienia — indywidualne rysy znanych twarzy. I tak w biuście doży Loredana Antonia Rizzo widział wystające kości policzkowe, skośne brwi, niemal twarz swego stangreta Remi; pod farbami jakiegoś Ghirlandajo — nos pana de Palancy; w portrecie Tintoretta linię zarostu na policzkach, załamanie nosa, bystre spojrzenie, obrzmiałe powieki doktora du Boulbon. Możliwe jest, iż doświadczając stale wyrzutu, że ograniczył swoje życie do stosunków światowych, do konwersacji, Swann szukał jakby rozgrzeszenia u tych wielkich artystów; i oni oglądali z przyjemnością i wciągnęli w obręb swojej sztuki takie twarze, dające ich dziełu świadectwo rzeczywistości i życia, wręcz współczesny smak. Możliwe też, iż do tego stopnia nasiąkł płytkością ludzi światowych, że lubił znajdować w dawnym dziele owe antycypowane i odmładzające aluzje do dzisiejszych nazwisk. Może, przeciwnie, zachował naturę artysty na tyle, aby te indywidualne cechy sprawiły mu przyjemność swoim znaczeniem ogólniejszym, z chwilą gdy je oglądał wyrwane z gruntu, oswobodzone, w podobieństwie między starym portretem a obcym mu oryginałem. Jak bądź się rzeczy miały, może dlatego, iż pełnia wrażeń, jaką Swann odczuwał od jakiegoś czasu — mimo że przysłała mu raczej z miłością muzyki — wzbogaciła także jego zamiłowanie do malarstwa, przyjemność ta stała się głębsza i miała wyrzucić na Swanna trwały wpływ dzięki podobieństwu, jakie znajdował w tej chwili między Odetą a Zeforą Sandra di Mariano. (Niechętnie dajemy już temu malarzowi jego popularny przydomek *Botticelli*, od czasu jak to miano przywodzi na myśl, w miejsce prawdziwego dzieła malarza, jego banalną i fałszywą wulgaryzację). Swann nie szacował już twarzy Odety wedle lepszej lub gorszej jakości jej policzków i wedle czysto fizycznej przyjemności, jaką spodziewałby się w nich znaleźć, dotykając ich wargami, gdyby się kiedy ośmielił ją pocałować; twarz ta stała się dla niego spletem subtelnych i pięknych linii, które spojrzenia jego rozplątywały, śledząc ich krzywizny, biegnąc za kadencją karku aż do wykwitów włosów i zgięcia powiek, niby na portrecie, w którym jej typ stawał się zrozumiały i jasny.

Patrzył na nią; fragment fresku jawił się w jej twarzy i w jej ciele. Odtąd starał się go zawsze tam odszukać, czy będąc przy Odecie, czy tylko myśląc o niej. Mimo iż Swann przypominał sobie florenckie arcydzieło zapewne jedynie dlatego, że je odnajdywał w Odecie, podobieństwo to przydawało jej również piękności, czyniło ją cenniejszą. Swann wyrzucał sobie, że nie docenił istoty, która wydałaby się uroczą wielkiemu Sandro; rad był, że przyjemność, jaką czerpie w widoku Odety, znajduje usprawiedliwienie w jego własnej kulturze estetycznej. Powiedział sobie, iż kojarząc myśl o Odecie z marzeniami o szczęściu, nie zniżył — jak dotąd przypuszczał — swoich aspiracji do jakiegoś „od bie-

dy”, skoro właśnie ona zadowalała w nim najwyrafinowańsze kryteria sztuki. Zapominał, że Odeta nie staje się przez to kobietą wedle jego pragnień, skoro właśnie pragnienia Swanna zwracały się zawsze w kierunku przeciwnym do jego estetycznych upodobań.

Termin: „dzieło florenckie” oddał wielką przysługę Swannowi. Pozwolił mu niby legitimacy wprowadzić obraz Odety w świat marzeń, do którego dotychczas nie miała dostępu i gdzie oblekła się nowym szlacheństwem. I gdy czysto fizyczny obraz tej kobiety, wciąż odnawiając jego wątpliwości co do walorów jej twarzy, ciała, całej jej urody, osłabiał miłość Swanna, wątpliwości te znikły, miłość umocniła się, zyskawszy podstawę w danych niewzruszonej estetyki. Nie licząc, iż pocałunek i posiadanie — naturalne i pospolite, o ile były darem zniszczonego ciała — wydały się Swannowi nadprzyrodzone i rozkoszne, gdy miały uwieńczyć podziw dla muzealnego dzieła.

I kiedy był skłonny żałować, że od miesięcy nie robił nic poza widywaniem Odety, powiedział sobie, że godzi się poświęcać dużo czasu bezcennemu arcydziełu, odlanemu tym razem w odmiennym i osobiście smakowitym materiale, w najrzadszym egzemplarzu, który Swann oglądał to z pokorą, uduchowieniem i bezinteresownością artysty, to znów z dumą, egoizmem i zmysłowością zbieracza.

Ustawił na biurku jako fotografię Odety reprodukcję córki Jethra. Podziwiał wielkie oczy, delikatną twarz, dającą się domyślać nieszczegółnej skóry; cudowne pukle włosów spadające wzdłuż zmęczonych policzków. Stosując do żywej kobiety to, czym dotąd zachwycał się w kategoriach estetyki, przeobrażał owo piękno w zalety fizyczne, rad, iż znajduje je w istocie dostępnej posiadaniu. Owa nieokreślona sympatia kierująca nas ku arcydziełu, na które patrzemy, teraz, kiedy Swann znalazł fizyczny oryginał córki Jethra, zmieniała się w pragnienie, zastępując to, którego ciało Odety nie obudziło w nim zrazu. Napatrzwszy się długo temu Botticellemu, myślał o własnym Botticellim, który zdawał mu się jeszcze piękniejszy; zbliżając do siebie fotografię Zefory, miał uczucie, że tuli do serca Odetę.

Mimo to Swann starał się uprzedzić nie tylko przesył Odety, ale czasem i własny. Czując iż, posiadając wszelką swobodę widywania go, Odeta niewiele ma mu do powiedzenia, obawiał się, że dość banalne, jednostajne i jakby skodyfikowane wzięcie właściwe Odecie, wówczas gdy byli razem, zabija w nim w końcu ową romantyczną nadzieję dnia, gdy ona zechce wyznać mu swoją miłość — nadzieję, która wyłącznie obudziła i podtrzymywała jego uczucie. Bał się, że się nią znuży; i chcąc trochę odnowić nazbyt zakrzepłą duchową fizjonomię Odety, pisał do niej nagle list pełen rzekomych zawodów i udanych gniewów. Kazał doręczyć jej ten list przed obiadem. Wiedział, że ją to przestraszy, że mu odpowie; miał nadzieję, że w skurczu spowodowanym obawą stracenia go, wytrysną słowa, jakich mu jeszcze nigdy nie powiedziała. I w istocie, w ten sposób uzyskał Swann od Odety najtkliwsze listy, jakie doń kiedykolwiek napisała. Jeden, który mu kazała zanieść w południe z *Maison Dorée* (był to dzień festynu na powodzian w Murcia), zaczynał się od tych słów: „Przyjacielu, ręka mi tak drży, że ledwo mogę pisać”; — Swann zachował go w tej samej szufladzie, co zeschły kwiat złocienia. Lub też spodziewał się, że o ile nie będzie miała czasu napisać, wówczas, skoro Swann przyjdzie do Verdurinów, Odeta pojdzie doń żywo i powie: „Muszę z panem pomówić”, i on będzie czytał z ciekawością na jej twarzy i w jej słowach wszystko to, co jest w jej sercu, a co mu dotychczas skrywała.

Już zbliżając się do Verdurinów, kiedy widział wielkie okna oświetlone lampami (okien nic nigdy nie zamykano), Swann rozczulał się, myśląc o uroczej istocie, którą ujrzy rozkwitła w ich złotym świetle. Czasem cienie gości odcinały się, wąskie i czarne, jak na ekranie przed lampami, niby małe figurki rozrzucone na przeźroczystym abażurze. Siłił się rozpoznać sylwetę Odety. Potem, kiedy już tam był, oczy jego — z czego sobie nie zdawał sprawy — błyszczały taką radością, że pan Verdurin powiedział do malarza: „Coś mi się widzi ciepło”. Obecność Odety przydawała w istocie w oczach Swanna temu domowi to, czego nie posiadał żaden inny z tych, w których bywał: rodzaj narządu czuciowego, sieci nerwowej, która się rozgałęziała we wszystkich pokojach i dawała jego sercu nieustanną podniecie.

W ten sposób proste funkcjonowanie tego społecznego organizmu, jakim była „paczka”, zapewniało automatycznie Swannowi codzienne spotkania z Odetą i pozwalało mu udawać obojętność na widywanie jej lub nawet chęć niewidzenia jej już, co nie groziło



mu zbyt dużym ryzykiem, skoro, co bądź napisał do niej w ciągu dnia, miał ją nieodzwrotnie ujrzeć wieczorem i odwiedzić ją do domu.

Pewnego razu pomyślawszy ze znużeniem o tym nieuchronnym wspólnym powrocie, Swann powiódł aż do Lasku swoją gryzetskę, aby opóźnić chwilę przybycia do Verdurinów. Zjawił się tam tak późno, iż Odeta, sądząc, że już nie przyjdzie, wyszła. Widząc, że jej już nie ma w salonie, Swann uczył ból w sercu; drżał, że będzie pozbawiony przyjemności, którą zmierzył pierwszy raz, mając dotąd tę pewność, iż zobaczy Odetę, kiedy zechce, co we wszystkich naszych przyjemnościach zmniejsza ich rozmiary lub wręcz nie pozwala ich dostrzec.

— Czy widziałas, jak mu oko zbieleło, kiedy spostrzegł, że jej nie ma? — rzekł Verdurin do żony. — Można powiedzieć, że nasz Swann wdepnął.

— Oko zbieleło? — zapytał gwałtownie doktor Cottard, który, zaszedłszy na chwilę do chorego, wrócił po żonę i nie wiedział, o kim mowa.

— Jak to, nie spotkał pan przed bramą najpiękniejszego ze Swannów?

— Nie. Swann był tutaj?

— Och, tylko chwilę. Mieliśmy zaszczyt oglądać Swanna bardzo podnieconego, bardzo nerwowego. Rozumie pan, Odeta wyszła.

— Chce pan powiedzieć, że oni zaszli z sobą za daleko, że jej negliz nie ma dla niego sekretów — rzekł doktor, doświadczając ostrożnie sensu tych wyrażań.

— Ale nie, nie ma między nimi absolutnie nic. Mówiąc między nami, uważam, że Odeta źle robi i że postępuje jak skończona gęś, którą jest zresztą.

— Ta ta ta! — rzekł pan Verdurin — co ty wiesz, czy nie ma nic, nie byliśmy materacem, prawda?

— Mnie byłaby powiedziała — rzekła dumnie pani Verdurin. — Mówię wam, ona mi opowiada wszystkie swoje drobne sekrety! Ponieważ nie ma w tej chwili nikogo, mówiłam jej, że powinna by iść ze Swannem na całego. Ona twierdzi, że nie może; że ma dla niego feblik, ale że on jest z nią nieśmiały, co znowuż ją onieśmiela. I że ona go nie kocha w ten sposób, że to jest istota idealna, że boi się odrzec z uroku swoje uczucie dla niego, czy ja wiem co wreszcie! A to byłoby przecie jak stworzone dla niej.

— Pozwolisz mi nie być twojego zdania — rzekł pan Verdurin. — Nie jestem zbyt entuzjastą tego pana, wygląda mi na pozera.

Pani Verdurin znieruchomiała; przybrała wyraz martwy, jakby zmieniona w posąg. Fikcja ta pozwoliła jej nie usłyszeć niezdolnego słowa „pozer”, które zdawało się mówić, że ktoś może wobec nich „pozować”, że jest tym samym „czymś więcej od nich”.

— Wreszcie, jeżeli nic między nimi nie ma, to chyba nie stąd, żeby ten pan uważał ją za cnotę — rzekł ironicznie pan Verdurin. — Chociaż, ostatecznie, nie można nic wiedzieć, skoro on najwyraźniej ma Odetę za osobę inteligentną. Nie wiem, czyś ty słyszała, co on jej któregoś wieczora opowiadał na temat sonaty Vinteuila. Lubię z całego serca Odetę, ale żeby się z nią zapuszczać w teorii estetyczne, trzeba być bajecznym dudkiem!

— Proszę, nie mówcie nic złego o Odecie — rzekła pani Verdurin, pieszcząc się jak dziecko. — Ona jest urocza.

— Ależ to jej nie przeszkadza być uroczą; nie mówimy o niej nic złego, mówimy tylko, że nie może pretendować do cnoty ani do inteligencji. W gruncie — rzekł pan Verdurin do malarza — czy panu tak bardzo zależy na tym, aby Odeta była cnotliwa? Kto wie, byłaby może o wiele mniej urocza?

Na schodach dogonił Swanna kamerdyner, którego nie było w chwili, gdy Swann przybył. Odeta kazała mu powiedzieć — ale to było już przed godziną — w razie gdyby przyszedł jeszcze, że nim wróci do domu, znajdzie prawdopodobnie na filiżankę czekolady do Prévosta. Swann pojechał do Prévosta, ale co krok powóz jego zatrzymywały inne wehikuly albo piesi przechodnie, obmierzłe zapory, które byłby z rozkoszą powywracał, gdyby protokół z policjantem nie groził jeszcze większym opóźnieniem. Liczył czas, który upływał; dodawał do każdej minuty parę sekund, aby dać większą realność szansom zdążenia na czas i zastania jeszcze Odety. Był jak człowiek w gorączce, który zbudziwszy się ze snu, uświadamia sobie niedorzeczność własnych majaków, nie odróżniając się od nich wyraźnie; uprzytomnił sobie dziwność myśli, które toczył w głowie od chwili, gdy mu powiedziano u państwa Verdurin, że Odeta już wyszła; nowość tego bólu w sercu, od którego cierpiał, ale który stwierdził dopiero teraz, jak człowiek świeżo zbudzony. Jak to?

Cały ten gwałt o to, że ujrzy Odetę aż jutro — czego właśnie pragnął jeszcze przed godziną, udając się do pani Verdurin. Swann musiał stwierdzić, że w tym samym powozie, który go niósł do Prévosta, nie był już tym samym człowiekiem, i że nie był już sam, że była z nim nowa istota, przylepiona niego, wtopiona w niego, istota, której nie zdołałby się może pozbyć, z którą będzie musiał się liczyć niby ze swoim panem albo z chorobą. A mimo to od chwili, w której uczuł, że nowa osoba pomnożyła niejako jego osobowość, własne życie zdawało mu się bardziej zajmujące. Oczekiwanie tak bardzo burzyło i pustoszyło chwile poprzedzające możliwość spotkania Odety, że Swann nie znajdował już ani jednej myśli, ani jednego wspomnienia, poza którym mózg jego mógłby odpocząć. Zaledwie że powiadał sobie, że owo możebne spotkanie u Prévosta, w razie gdyby się urzeczywistniło, byłoby prawdopodobnie jak inne czymś bardzo nikłym. Jak co wieczór, znalazłszy się z Odetą, rzucaliby na jej ruchliwą twarz ukradkowe spojrzenia odwracane natychmiast z obawy, aby w nich nie dojrzała przychylna pragnień i nie przestała wierzyć w jego bezinteresowność. Zaledwie mógłby o niej myśleć, zbyt zajęty szukaniem pozorów, które by mu pozwoliły nie pożegnać jej zaraz i upewnić się, niby to od niechcenia, że ją ujrzy nazajutrz u Verdurinów; to znaczy przedłużyć na tę chwilę i odnowić jeszcze jeden raz zawód i mękę, jakie mu sprawiała czcza obecność tej kobiety, do której zbliżał się, nie śmiejąc jej objąć.

Nie było Odety u Prévosta; Swann uparł się szukać jej we wszystkich restauracjach na bulwarach. Aby zyskać na czasie, sam przepatrując jedne, posłał do drugich stangreta Remi (dożę Loredana Rizza), na którego czekał później — sam nie znalazłszy nic — we wskazanym miejscu. Powóz nie wracał; Swann wyobrażał sobie nadchodzącą chwilę to jako moment, w którym Remi powie: „Ta pani jest”, to znów jako ów, w którym powie: „Tej pani nie ma nigdzie”. W ten sposób widział przed sobą koniec wieczoru, jeden, a przecież odmienny, poprzedzony bądź to spotkaniem z Odetą, które by uśmierzyło jego mękę, bądź przymusowym wyrzeczeniem się spotkania na ten wieczór, rezygnacją na powrót do domu bez jej widoku.

Stangret wrócił, ale w chwili, gdy się zatrzymał przed Swannem, ów nie powiedział: „Czy znalazłeś tę panią?”, ale: „Przypomnij mi jutro, żebym zamówił drzewo; zdaje się, że zapas się kończy”. Może powiadał sobie, że jeżeli Remi zastał Odetę czekającą nań w kawiarni, koniec żalosego wieczoru wsiąknął w realizację wieczoru szczęśliwego i że nie ma co się spieszyć po to, aby dosięgnąć szczęście pochwycone i bezpieczne, które mu się nie wymknie. Ale była w tym i siła bezwładu: Swann cierpiał na ów brak duchowej elastyczności, tak jak niektórym brak jest elastyczności fizycznej; tacy ludzie, w chwili gdy im trzeba uniknąć zderzenia, uchylić się od płomienia, wykonać konieczny ruch, odczekują, trwają sekundę w poprzednim położeniu, jak gdyby chcąc w nim znaleźć punkt oparcia, rozmach. I z pewnością, gdyby stangret przerwał swemu panu, mówiąc: „Ta pani tam jest”, Swann byłby odpowiedział: „A, prawda, mówisz o tym zleceniu, które ci dałem, doprawdy, nie byłbym myślał” i dalej mówiłby o zapasie drzewa, aby ukryć wzruszenie i zostawić sobie czas na poniechanie niepokoju i oddanie się szczęściu.

Stangret wrócił, aby powiedzieć, że nie znalazł Odety nigdzie, i dodał od siebie, tonem starego sługi:

— Myślę, że jaśnie pan może wracać.

Ale obojętność, którą Swann odgrywał z łatwością, kiedy Remi nie mógł nic zmienić w swojej odpowiedzi, znikła, kiedy ujrzął, że służący chce go skłonić do wyrzeczenia się nadziei i poszukiwań:

— Ależ nie, bynajmniej — wykrzyknął — musimy znaleźć tę panią, to rzecz niezmiernie wagi. To byłaby dla niej wielka przykreść; ma do mnie pilny interes i bardzo by się czuła urażona, gdyby mnie nie spotkała.

— Nie rozumiem, o co miałaby być urażona — odparł Remi — przecież to ona poszła sobie, nie czekając na jaśnie pana i powiedziała, że jedzie do Prévosta, i nie było jej tam.

Zresztą zaczynano wszędzie gasić. Pod drzewami na bulwarach, w tajemniczym mroku majaczyli coraz rzadsi przechodnie. Czasami cień kobiety, która zbliżała się doń, szepcząc mu coś do ucha, prosząc, aby ją zabrał z sobą, przyprowadził Swanna o drżenie. Mijał trwożliwie wszystkie te mroczne postacie, jak gdyby pośród cieniów zmarłych, w posępnym królestwie szukał Eurydyki.

Ze wszystkich sposobów powstawania miłości, ze wszystkich czynników udzielania się tej wielkiej choroby jednym z najskuteczniejszych jest z pewnością ów silny podmuch niepokoju, który czasem powieje na nas. Wówczas los jest rzucony: pokochamy istotę, z którą czujemy się dobrze w tej chwili. Nie potrzeba nawet, aby się nam dotąd podobała bardziej od innych lub nawet tyle co inne. Trzeba było tylko, aby nasz pociąg do niej stał się wyłączny. A ten warunek spełnia się, kiedy — w chwili gdy nam tej istoty zabrakło — w miejsce poszukiwania przyjemności, którą nam dawał jej urok, zjawiała się w nas nagle trwoźna potrzeba mająca za przedmiot samą tę istotę; potrzeba niedorzeczna, którą prawa tego świata czynią niemożliwą do zaspokojenia, a trudną do uleczenia — szalona i bolesna potrzeba posiadania.

Swann kazał się zawieźć do ostatnich otwartych jeszcze restauracji; to była jedyna hipoteza szczęścia, którą zważał spokojnie. Nie ukrywał już swego wzruszenia ani wagi, którą przykładał do tego spotkania. Przyrzekł w razie sukcesu nagrodę stangretowi, jak gdyby, solidaryzując go z własnym swoim pragnieniem, mógł tym sprawić, aby Odeta, nawet gdyby już poszła do domu, znalazła się mimo to w restauracji przy bulwarach. Dotarł aż do *Maison Dorée*, wszedł dwa razy do Tortoniego. Nie znalazłszy jej nigdzie, wychodził z *Café Anglais*, idąc wielkim krokiem, z błędnymi oczami, do powozu, który czekał na rogu bulwaru des Italiens, kiedy zderzył się z osobą spieszącą w przeciwnym kierunku: była to Odeta. (Wytłumaczyła mu później, że nie znalazłszy miejsca u Prévosta, poszła coś zjeść do *Maison Dorée*; siedziała we framudze, gdzie Swann jej nie dostrzegł, a teraz wracała do swego wehikulu.)

Tak dalece nie spodziewała się go ujrzeć, że się wzdrygnęła. Co się tyczy Swanna, uganiał po Paryżu nie dlatego, aby uważał za możliwe spotkać Odetę, ale że mu było zbyt ciężko wyrzec się tego. Ale owa radość, którą rozsądek jego przestał uważać na ten wieczór za dostępną, wydała się obecnie tym rzeczywistszą; nie przygotował jej przez rachunek prawdopodobieństwa, przyszła spoza niego; nie potrzebował jej czerpać ze swego mózgu, tryskała sama z siebie, sama niosła mu tę prawdę, promieniującą tak, iż rozpraszała na kształt snu samotność, której się obawiał; prawdę, na której opierał bezwiednie swoje błogie marzenie. Tak podróżny, przybywszy w piękny czas nad Morze Śródziemne, niepewny istnienia krajów, które dopiero co opuścił, poddaje swój olśniony wzrok — zaledwie patrząc na nie — promieniom, które śle ku niemu błyszczący i gęsty lazur wody.

Wsiadł z Odetą do jej powozu, powiedziawszy swemu woźnicy, aby jechał za nim.

Odeta trzymała w ręce bukiet katei; Swann ujrzał, że pod koronkową chusteczką ma we włosach także storczyki, przypięte do egretki z piór łabędzich. Pod mantylką spowijał ją strumień czarnego aksamitu, który, skrzyżowany w ukos, odsłaniał w szerokim trójkącie dół białej atlasowej sukni i ukazywał wstawkę z białego atlasu w rozchyleniu wyciętego stanika, gdzie także tkwiły kateje. Ledwie Odeta ochłonęła z przestachu, o jaki Swann ją przyprowadził, kiedy jakaś przeszkoda spłoszyła konia. Powóz rzucił nimi gwałtownie. Odeta wydała krzyk i dygotała chwilę bez oddechu.

— To nic — rzekł Swann — niech się pani nie boi.

I trzymał ją za ramię, przyciskał ją do siebie, podtrzymywał ją, po czym rzekł:

— Niech pani nic nie mówi, niech mi pani odpowiada tylko gestem, żeby się bardziej nie zdyszcę. Czy pani pozwoli, żebym poprawił kwiaty przy staniku; przekrzywiły się od wstrząsu. Boję się, żeby ich pani nie zgubiła, chciałbym je wsunąć trochę głębiej.

Ona, nienawykła, aby mężczyźni robili z nią tyle ceremonii, rzekła z uśmiechem:

— Ależ tak, proszę bardzo.

Ale Swann, onieśmielony odpowiedzią, chcąc może, aby wyglądało, że szczerze uciekł się do tego pozoru, lub nawet zaczynając już wierzyć, że był szczerzy, wykrzyknął:

— Och, nie, nie, niech pani nie mówi, zadyszy się pani, może mi pani przecie odpowiedzieć gestem, ja zrozumiem. Naprawdę nie zrobię pani przykrości? Widzi pani, troszeczkę... zdaje mi się, że to pyłki z kwiatów osypały się na panią; pozwoli pani, żebym je otarł ręką? Czy nie za silnie, czy nie jestem za brutalny? Łaskoczę może trochę? To dlatego, że nie chciałbym dotknąć sukni, aby jej nie zmiąć. Ale, widzi pani, doprawdy trzeba było je poprawić, byłyby wypadły; a w ten sposób, skoro wsunę je trochę głębiej... Doprawdy, nie robi to pani przykrości? A jeśli je powącham — aby się przekonać, czy

naprawdę nie pachną — też nie? Nigdy ich nie wahałem, czy można? Niech pani powie szczerze?

Uśmiechnęła się, wzruszyła lekko ramionami, jak gdyby mówiąc: „Cóż za szaleństwo, widzi pan przecie, że mi to robi przyjemność”.

Podniósł drugą rękę ku policzkowi Odety; popatrzała nań bystro, tęsknym i poważnym wzrokiem, jaki mają kobiety florenckiego mistrza, do których mu się wydała podobna. Oczy jej, zbiegłe na kraj powiek, błyszczące, długie i wąskie jak oczy tamtych kobiet, zdawały się gotowe wypłynąć jak dwie łzy. Gięła szyję, jak robią wszystkie tamte, w pogańskich scenach czy w obrazach religijnych. I w pozie, do której zapewne nawykła, uważając ją za właściwą w podobnych wypadkach i nie zapominając jej przybrać, Odeta, zdawałoby się, skupiła wszystkie siły, aby powstrzymać swoją twarz, jak gdyby niewidzialna moc ciągnęła ją do Swanna. Ale nim ją skłoniła, jakby wbrew woli, na jego wargi, Swann przytrzymał na chwilę tę twarz w pewnej odległości, więząc ją w obu rękach. Chciał zostawić swojej myśli czas, aby nadbiegła, aby poznała marzenie pieszczone tak długo, aby była świadkiem jego ziszczenia, niby krewna, którą się wzywa, aby wzięła udział w powodzeniu ukochanego dziecka. Tę twarz Odety, jeszcze nieposiadanej ani nawet jeszcze niecałowanej przez niego, Swann widział ostatni raz; i może wlepił w nią owo spojrzenie, którym w dniu odjazdu chciałoby się unieść krajobraz, nim się go opuści na zawsze.

Posiadł ją wreszcie tego wieczora, zaczętego od poprawiania katlei. Ale był z nią tak nieśmiały, że, czy to przez obawę zmrożenia Odety, czy z lęku, że się retrospektywnie wyda jego wybieg, czy przez brak odwagi, aby sformułować jakieś większe żądanie (większe od tego, które miał prawo powtórzyć, skoro nie pogniewało Odety za pierwszym razem), w następane dni Swann uciekł się do tego samego pretekstu. Jeżeli Odeta miała katleje u stanika, mówił: „To fatalne, dziś nie potrzeba poprawić katlei, nie przekrzywiły się jak wówczas. Ale zdaje mi się, że ta jedna nie siedzi bardzo prosto. Wolno spróbować, czy tak samo nie pachną jak tamte?”. Lub kiedy ich nie miała: „Och! nie ma katlei dziś wieczór, nie ma dla mnie żadnego ratunku”. Tak że przez jakiś czas nic nie zmieniało się w porządku, jakiego Swann trzymał się pierwszego wieczora, rozpoczynając od dotykania palcami i ustami piersi Odety — i od tego też zaczynały się za każdym razem jego pieszczoty. I o wiele później, kiedy poprawianie (lub rytualna komedia poprawiania) katlei od dawna wyszła z użycia, przenośnia „poprawiać katleje”, przeżyła w ich języku ów zapomniany obyczaj, stając się jego pamiątką. Zmieniła się w potoczny termin używany bez myśli na oznaczenie aktu fizycznego posiadania — w którym zresztą nie posiada się nic. I może ten swoisty sposób określania aktu miłości miał inny odcień niż jego synonimy. Daremnie się blazujemy w miłości, daremnie uważamy posiadanie kobiet, choćby najróżniejszych, za coś zawsze jednakiego i znanego z góry; posiadanie to staje się nową rozkoszą, kiedy chodzi o kobiety na tyle — bodaj w naszym przekonaniu — trudne, abyśmy musieli dobywać to posiadanie z jakiegoś nieprzewidzianego epizodu, jakim było za pierwszym razem dla Swanna poprawianie katlei. Spodziewał się ze drżeniem owego wieczora (ale Odeta — powiadał sobie — jeśli się dała oszukać jego podstępowi, nie mogła tego zgadnąć), że posiadanie tej kobiety wyłoni się z szerokich płatków lila; a rozkosz, którą już odczuwał, a którą Odeta tolerowała może (myślał Swann) jedynie dlatego, że jej nie odgadła, zdawała mu się — jak musiała się zdawać pierwszemu człowiekowi, który jej kosztował wśród kwiatów raj — rozkoszą dotąd nieznaną, stworzoną przez niego, całkowicie osobną i nową, jak tego ślad zachowała specjalna, przez niego dana jej nazwa.

Teraz co wieczór, odwiózłszy Odetę do domu, musiał do niej wstępować. Często wychodziła w szlafroczku, odprowadzała Swanna do powozu i całowała go na oczach stan-greta, mówiąc:

— Co mnie to może obchodzić, co mnie obchodzą inni?

Kiedy któregoś wieczora Swann nie szedł do Verdurinów (co zdarzało się niekiedy, od czasu, jak mógł Odetę widywać inaczej), kiedy — coraz rzadziej — był gdzieś w „wielkim świecie”, prosiła, aby zaszedł do niej, nim wróci do domu; wszystko jedno, o której godzinie. Była to wiosna, wiosna czysta i mroźna. Wychodząc z zabawy, Swann wsiadał do swojej wiktorii, okrywał nogi pledem; przyjacielom, którzy wychodzili równocześnie i proponowali, aby wracał z nimi, odpowiadał, że nie może, że jedzie w inną stronę. Stangret ruszał ostro, wiedząc, dokąd jedzie. Przyjaciele dziwili się i w istocie Swann nie

był ten co dawniej. Nie dostawano już od niego listów błagających o przedstawienie go jakiejś kobiecie. Nie zwracał już uwagi na żadną; unikał miejsc, gdzie się spotyka kobiety. W restauracji, na wsi, zachowanie się Swanna było wręcz przeciwne temu, po którym poznałoby się go jeszcze wczoraj i które, zdawało się, na zawsze miało być z nim zrośnięte. Tak dalece namiętność jest w nas niby przejściowy i odmienny charakter, który zajmuje miejsce dawnego i usuwa nawet najtrwalsze jego dotychczasowe oznaki!

W zamian niezmienną cechą Swanna było obecnie to, że, gdziekolwiek się znalazł, nie omieszkął spieszyć do Odety. Przestrzeń dzielącą go od niej przebywał nieuchronnie, jakby to była nieodparta i chyża linia jego życia. Prawdę mówiąc, często zasiedziawszy się gdzieś dłużej, byłby wołał wrócić prosto do domu, oszczędzając sobie tego dalekiego kursu, i zobaczyć Odetę aż nazajutrz; ale wyrwać się o tak niezwyklej godzinie po to, aby jechać do niej; domyślać się, że przyjaciele, rozstawszy się z nim, mówią: „Ktoś go krótko trzyma, ma z pewnością kobietę, która zmusza go, aby zachodził do niej o każdej porze” — wszystko to miało dla Swanna nieprzeparty urok znany ludziom mającym w swojej egzystencji miłość, czyniącym ofiarę ze swego spokoju i ze swoich interesów na rzecz rozkosznego marzenia. Następnie — z czego Swann nie zdawał sobie sprawy — pewność, że Odeta czeka, że nie jest gdzie indziej ani z innymi, że ją ujrzy przed powrotem do domu, neutralizowała ten ucisk serca, zapomniany, ale zawsze gotowy się odrodzić, jakiego doznał w ów wieczór, kiedy nie zastał Odety u Verdurinów; doraźne zaś ukojenie tego lęku było tak słodkie, że mogło się nazywać szczęściem.

Może temu lękowi zawdzięczał Swann ważność, jakiej nabrała dlań Odeta. Istoty ludzkie są nam zazwyczaj tak obojętne, że, kiedyśmy włożyli w jedną z nich wszystkie możliwości naszego cierpienia i naszej radości, wówczas istota ta należy dla nas niejako do innego świata; nasycy się poezją, robi z naszego życia niby płaszczyznę wzruszeń, na której jest od nas bliżej lub dalej. Swann nie mógł spytać sam siebie bez trwogi, czym stanie się dlań Odeta w latach, które miały nadejść. Czasami, w owe piękne, zimne noce, widząc błyszczący księżyc lejący jasność na puste ulice, myślał o owej innej twarzy, jasnej i lekko różanej jak twarz księżycy; o twarzy, co pewnego dnia zjawiła się przed jego myślą i od tego czasu słała dlań na świat tajemnicze światło.

Jeżeli Swann przyszedł po godzinie, o której Odeta wyprawiała służbę spać, wówczas, nim zadzwonił do furtki, szedł najpierw na ulicę, gdzie na parterze, między całkiem podobnymi, ale ciemnymi oknami sąsiednich willi, błyszczało jedynie okno jej sypialni. Pukał w szybę, a ona natychmiast odpowiadała i szła naprzeciw niego do bramy. Zastawał otwarte na fortepianie niektóre jej ulubione utwory: *Walc róż* albo *Biedny szaleniec* Tagliafico (które wedle pisemnej woli Odety miano wykonać na jej pogrzebie); prosił ją, aby mu zamiast tego zagrała frazę z sonaty Vinteuila, mimo że Odeta grała bardzo lichy; ale najpiękniejszą wizją, jaka nam zostaje z utworu, jest często ta, która się wzniosła ponad fałszywe dźwięki wydobyte niezręcznymi palcami z rozstrojonego pianina. Małeńka fraza wciąż kojarzyła się dla Swanna z jego miłością dla Odety. Czuł, że ta miłość to jest coś, co nie odpowiada niczemu zewnętrznemu, dającemu się sprawdzić przez kogoś innego; zdawał sobie sprawę, że przymioty Odety nie usprawiedliwiają wartości, jaką przywiązywał do chwil spędzonych przy niej. I często, kiedy władała Swannem jedynie pozytywna inteligencja, byłby chciał przestać poświęcać tyle intelektualnych i towarzyskich walorów dla tej urojonej przyjemności. Ale małeńka fraza, z chwilą gdy ją usłyszał, umiała w nim oczyścić potrzebną dla siebie przestrzeń; proporcje duszy Swanna zmieniały się; tworzył się w niej niby rezerwat rozkoszy, która również nie odpowiadała żadnemu zewnętrznemu przedmiotowi, a która mimo to, zamiast być czymś czysto indywidualnym jak rozkosz miłości, narzucała się Swannowi jako rzeczywistość wyższa od rzeczy konkretnych.

Owa fraza budziła w nim pragnienie nieznanego uroku, ale nie przynosiła nic określonego, aby zaspokoić to pragnienie. Tak że te części duszy Swanna, w których fraza sonaty zatarła troskę o interesy materialne, o względy świata mające kurs powszechny, zostały puste, *in blanco*: mógł tam wpisać imię Odety. Fraza sonaty stapała swoją tajemniczą esencją z tym, co w miłości Odety mogło być liche i niedostateczne. Widząc twarz Swanna, kiedy słuchał tej frazy, można by rzec, że chłonie on środek znieczulający, dający większą rozpiętość jego oddechowi. I rozkosz, jaką mu dawała muzyka — rozkosz przerodzona niebawem w prawdziwą potrzebę — podobna była istotnie w owych chwilach do przyjemności, jaką znalazłby, doświadczając zapachów, wchodząc w stycz-

ność ze światem, dla którego nie jesteśmy stworzeni, który się nam wydaje bez kształtu, bo oczy nasze nie spostrzegają go, bez znaczenia, bo umyka się naszemu pojmowaniu — ze światem, którego dosiegamy tylko jednym zmysłem. Mimo iż oczy Swanna subtelnie smakowały malarstwo, a umysł jego niemniej subtelnie obserwował obyczaje, i oczy jego i umysł nosiły niezatarty ślad oschłości jego życia. Otóż wielki spokój, tajemnicza odnowa przychodziły mu obecnie stąd, że się czuł przeobrażony w istotę obcą ludzkości, ślepa, pozbawioną logiki, niemal w jakieś bajkowe fantastyczne zwierzę, stworzenie pojmujące świat jedynie słuchem. I kiedy w małej frazie szukał sensu, do którego jego inteligencja nie mogła się wdrzeć, jakież szczególne upojenie znajdował w tym, aby swoją najwewnętrzniejszą duszę odrzeć ze wszystkich elementów rozumowania i wprowadzić ją samą w korytarz, w mroczny filtr dźwięku.

Zaczynał sobie zdawać sprawę ze wszystkiego, co było bolesne, może nawet tajemnie nieukozone w słodyczy tej frazy; ale nie sprawiało mu to bólu. I cóż, że mu ona mówiła, iż miłość jest kruchą; jego miłość była tak silna! Igrał ze smutkiem, jaki rozlewała ta melodia; czuł, jak przepływa nad nim, ale niby pieszczota czyniąca poczucie własnego szczęścia tym głębszym i słodszy. Kazał ją sobie Odecie grać dziesięć razy, dwadzieścia razy, żądając, aby go równocześnie nie przestawała całować. Każdy pocałunek przyzywa nowy pocałunek. Och, w owych pierwszych czasach, kiedy się kocha, pocałunki rodzą się tak łatwo! Tłoczą się jedne za drugimi; zliczyć pocałunki wymienione w ciągu godziny, to tak jak zliczyć kwiaty na łące w maju. Wówczas Odeta niby to przestawała grać, mówiąc: — Jakże ty chcesz, żebym grała, kiedy mnie trzymasz; nie mogę robić wszystkiego naraz; wiedz przynajmniej, czego chcesz, czy mam grać, czy pieścić się z tobą.

A on się gniewał, a ona parskała śmiechem, który przeobrażony opadał na niego deszczem pocałunków.

Albo też patrzyła na niego chmurnym wzrokiem, wówczas Swann oglądał twarz godną znaleźć się w *Życiu Mojżesza* Botticellego; przenosił ją tam, dawał szyi Odety właściwe nachylenie i kiedy ją tak całkiem namalował temperą, w XV wieku, na ścianach Sykstyny, myślał, że ona mimo to jest tu, przy fortepianie, teraz, że ją można całować i mieć, idea jej materialności i jej życia upajała go z taką siłą, że z błędnym wzrokiem, z żarłocznymi napiętymi szczękami rzucał się na tę dziewicę Botticellego i zaczynał ją szczypać w policzki.

Skoro się z nią wreszcie rozstał, wracał, aby ją jeszcze uściskać, bo zapomniał zabrać w swoim wspomnieniu jakiejś właściwości jej zapachu lub rysów; i odjeżdżał, kołysząc się w swojej wiktorii, błogosławiąc Odetę, że mu pozwala na te codzienne wizyty. Czuł, że Odecie wizyty te nie muszą dawać zbytnej rozkoszy, ale ubezpieczając go od zazdrości — od cierpienia poznanego w ów wieczór, kiedy Swann nie zastał Odety u Verdurinów — pomogą mu dojść bez nowych ataków, z których pierwszy — oby jedyny! — był tak bolesny, do końca tych osobliwych godzin jego życia, godzin niemal zaczarowanych, podobnych tym, w których przebywał Paryż w blasku miesiąca. I zauważywszy w czasie powrotu, iż księżyc zmienił w stosunku do niego pozycję i przesunął się prawie na skraj widnoką, czując, że jego miłość również jest posłuszna niezmiennym i przyrodzonym prawom, Swann pytał się, czy obecnie przeżywany okres będzie jeszcze trwał długo, czy niebawem droga twarz Odety nie stanie się dla jego myśli czymś odległym i zmałym, niezdolnym już sączyć tego samego czaru. Bo Swann, od czasu jak był zakochany, znajdował ten czar we wszystkim dokoła, jak za młodu, kiedy uważał się za artystę; ale to już nie był ten sam czar; obecnie dawała go wszystkiemu jedynie Odeta. Czuł, że się w nim odradzają porywy młodości strwonione w czczym życiu; ale wszystkie owe porywy nosiły odblask i piętno jednej istoty; i w długich godzinach, które słodko mu było teraz spędzać w domu, sam na sam ze swoją zdrowiejącą duszą, Swann stawał się pomału sobą samym, ale należącym do innej.

Bywał u Odety tylko wieczór i nie wiedział nic o jej sposobie życia w ciągu dnia, tak samo jak o jej przeszłości. Brakło mu nawet owych punktów wyjścia, drobnych szczegółów, które pozwalając nam sobie wyobrazić to, czego nie wiemy, budzą w nas chęć poznania tego. Toteż Swann nie pytał siebie, co Odeta może robić, ani jakie było jej życie. Uśmiechał się jedynie czasami, pamiętając, że przed kilku laty, kiedy jej nie znał, mówiono mu o kobiecie, która, o ile sobie dobrze przypomina, musiała być Odetą, jak o kokotce, utrzymance, jednej z owych istot, którym Swann przypisywał jeszcze — ile że mało obracał się w ich towarzystwie — charakter zdecydowany, z gruntu przewrotny,

jakim długo je darzyła wyobraźnia pewnych powieściopisarzy. Powiadał sobie, że często wystarczy obrócić na wspak wyroki świata, aby trafnie osądzić jakąś osobę. Przeciwwstawiał owemu typowi Odetę dobrą, naiwną, idealistkę, tak niezdolną do kłamstwa! Raz, pragnąc zjeść z Odetą obiad we dwójkę, Swann poprosił ją, aby napisała do pani Verdurin, że jest cierpiąca; nazajutrz widział, jak wobec pani Verdurin, która spytała, czy się ma lepiej, Odeta zacerwieniła się, wybąkała coś i mimo woli zdradziła wyrazem twarzy męczarnię, jaką dla niej było kłamać. Podczas gdy Odeta w swojej odpowiedzi mnożyła zmyślane szczegóły rzekomej wczorajszej niedyspozycji, błagalne jej oczy i nabrzmiały rozpaczą głos zdawały się prosić o przebaczenie za fałsz słów.

W pewne dni, ale rzadko, Odeta przychodziła do Swanna popołudniu, aby przerwać jego dumania lub owo studium o Vermeerze, do którego wrócił od niedawna. Oznajmiano mu, że pani de Crécy jest w saloniku. Wychodził do niej i kiedy otwierał drzwi, kiedy Odeta go ujrziała, na jej różowej twarzy jawił się uśmiech zmieniający kształt jej ust, wyraz oczu, rysy. Zostawszy później sam, Swann widział ten uśmiech; ten, który Odeta miała wczoraj, inny, którym go przywitała kiedyś, ten, którym odpowiadała mu w powozie, kiedy pytał, czy jej nie uraził, poprawiając katleje; i całe życie Odety poza nim — ile że z tego życia nie znał nic — jawiło mu się na obojętnym i bezbarwnym tle, podobne owym kartkom z notatnika Watteau, gdzie tu i tam, na każdym miejscu, we wszystkich kierunkach widzi się kreślone trzema kredkami na papierze *chamois*, niezliczone uśmiechy. Życie Odety — ponieważ nie mógł go sobie wyobrazić — przedstawiało się Swannowi całkowicie próżne, jeżeli nawet rozum mówił mu, że nim nie jest. Ale czasami w kąciku tego życia jakiś przyjaciel (który, zgadując, że oni się kochają, nie odważyłby się mu powiedzieć nic poza błahostkami) kreślił mu sylwetkę Odety; widział ją tego rana pieszo na ulicy Abbattucci, w wizytowym kostiumie ze skunksami, w rembrandtowskim kapeluszu i z bukietem fiołków przy staniku. Ten prosty szkic wstrząsał Swannem, bo ukazywał mu nagle, że Odeta ma jakieś życie nienależące w całości do niego; chciał wiedzieć, komu się starała podobać w tej nieznanym mu tualecie; postanawiał sobie spytać ją, dokąd szła w owej chwili; jak gdyby w całym bezbarwnym — prawie nieistniejącym, bo dla Swanna niewidzialnym — życiu jego kochanki była tylko jedna rzecz poza tymi wszystkimi uśmiechami zwróconymi do niego: spacer w rembrandtowskim kapeluszu, z bukietem fiołków przy staniku.

Poza frazą Vinteuila, o którą prosił w miejsce *Walca róż*, Swann nie starał się, aby mu Odeta grała rzeczy, które lubił. Tak samo w muzyce jak w literaturze nie silił się poprawiać jej złego smaku. Zdawał sobie sprawę, że nie jest inteligentna. Powiadając Swannowi że lubiłaby, aby jej mówił o wielkich poetach, Odeta wyobrażała sobie, że od razu usłyszy heroiczne i romantyczne strofy w rodzaju wierszy wicehrabiego de Borelli, może jeszcze bardziej wzruszające! Co się tyczy Vermeera van Delft, spytała, czy on cierpiał przez kobietę, czy to kobieta go natchnęła, kiedy zaś Swann wyznał, że nic o tym nie wie, Odeta przestała się interesować tym malarzem. Mówiła często:

— Poezja, rozumiem, oczywiście, nie byłoby nic piękniejszego, gdyby to była prawda, gdyby poeci myśleli wszystko to, co piszą. Ale często nie ma nic interesowniejszego niż tacy ludzie. Wiem coś o tym, miałam przyjaciółkę, która się kochała z tak zwanym poetą. W wierszach mówił tylko o miłości, o niebie, o gwiazdach. Och, zobaczyła gwiazdy! Schrugała jej przeszło trzysta tysięcy franków.

Kiedy wówczas Swann próbował jej wyjaśnić, na czym polega piękno w sztuce, jak trzeba podziwiać wiersze albo obrazy, po chwili Odeta przestawała słuchać, mówiąc:

— Tak... nie wyobrażałam sobie, że to jest tak...

I czuł w niej taki zawód, że wołał kłamać, mówiąc, że to wszystko to jest nic, że to są tylko drobiazgi, że nie miał czasu wejść w głąb, że jest jeszcze coś innego. Wówczas Odeta pytała żywo: „Co innego? co?... Więc powiedz...”, ale on nie mówił. Wiedział, jakie by się to jej wydało nikłe i różne od tego, czego się spodziewała, mniej sensacyjne i mniej wzruszające; i obawiał się, aby zniechęciwszy się do sztuki, nie zniechęciła się równocześnie do miłości.

I w istocie Swann wydał się Odecie intelektualnie mniej świetny niż byłaby zrazu przypuszczała. „Ty zawsze się wymykasz, nie umiem cię określić”. Bardziej podziwiała jego obojętność na pieniądze, jego uprzejmość dla każdego, jego delikatność. I często w istocie zdarza się ludziom większym niż Swann — uczonemu, artyście, kiedy nie jest

zapoznany przez swoich bliskich — że uczuciem owych bliskich, świadczącym o przewadze jego inteligencji nad otoczeniem, jest nie podziw dla jego zbyt niedostępnych myśli, ale szacunek dla jego dobroci.

Szacunek budziła też w Odecie światowa sytuacja Swanna, ale nie pragnęła, aby się ją starał wprowadzić w towarzystwo. Może czuła, że to niemożliwe, a nawet bała się, aby Swann, bodaj tylko mówiąc o niej, nie wywołał jakich niepożądanych zwierzeń. Faktem jest, iż kazała mu przyrzec, że nigdy nie wymówi jej nazwiska. Przyczyną, dla której Odeta nie chciała być w świecie (tak mówiła Swannowi) była jakaś jej dawna sprzeczka z przyjaciółką, która, aby się zemścić, opowiadała o niej niestworzone rzeczy. Swann wtrącał:

— Ależ nie wszyscy znali twoją przyjaciółkę.

— Owszem, owszem, zawsze z tego coś przyłgnie, świat jest taki zły.

Swann nie zrozumiał wprawdzie nic z tej historii, ale skądinąd wiedział, że powiedzenia w rodzaju: „Świat jest taki zły” — „z obmowy zawsze coś przyłgnie”, są powszechnie uznane za prawdziwe; muszą być tedy wypadki, do których aforyzmy te mają zastosowanie. Czy wypadek Odety był z ich rzędu? Swann pytał siebie o to, ale niedługo, bo i on także podlegał owej ociążałości duchowej, która ogarniała jego ojca, kiedy stawiał sobie trudny problem.

Zresztą ów wielki świat, który tak przerażał Odetę, nie budził w niej może zbyt wielu pragnień; zanadto był odległy od tego, który znała, aby go sobie mogła wyraźnie przedstawić. Może, zostawszy pod pewnymi względami naprawdę naiwna (pozostała na przykład w przyjaźni z biedną eks-szwaczką, do której wdrapywała się prawie co dzień po stromych, ciemnych i cuchnących schodach), była spragniona „szyku”, ale miała o nim inne pojęcie niż ludzie naprawdę światowi. Dla nich *szyk* to jest emanacja pewnej niewielkiej ilości osób, które ślą jego promienie na dość znaczną odległość — słabnące w miarę, jak ktoś jest dalej od centrum, w krąg swoich przyjaciół lub przyjaciół swoich przyjaciół, o nazwiskach poniekąd skatalogowanych. Ludzie światowi znają ten katalog na pamięć; mają w tych przedmiotach erudycję, z której wyciągnęli rodzaj smaku i taktu. I tak na przykład, skoro Swann przeczytał w dzienniku nazwiska osób obecnych na jakimś obiedzie, wówczas nie potrzebując się uciekać do swojej światowej wiedzy, mógł natychmiast określić odcień szyku tego obiadu; tak jak literat z jednego przeczytanego zdania ściśle ocenia poziom literacki autora. Ale Odeta należała do osób (a osoby te, wbrew mniemaniu ludzi światowych, są nader liczne i istnieją we wszystkich warstwach), które nie posiadają tych wiadomości, biorąc za szyk coś całkiem innego. Szyk ten obleka różne postacie, zależnie od środowiska; ale czy to będzie ten, o którym marzyła Odeta, czy ten, przed którym skłaniała głowę pani Cottard, szyk ów ma tę swoistą cechę, że jest dostępny wszystkim. Tamten — szyk ludzi światowych — jest, prawdę mówiąc, również dostępny wszystkim, ale trzeba na to pewnego czasu. Odeta powiadała o kimś:

— On chodzi tylko w szykowne miejsca.

A kiedy Swann pytał ją, co przez to rozumie, odpowiadała trochę lekceważąco:

— No co, szykowne miejsca i tyle! Jeżeli w twoim wieku trzeba cię uczyć, co to są szykowne miejsca, cóż ja ci mam powiedzieć. Na przykład w niedzielę rano *avenue de l'Impératrice*, o piątej jezioro w Lasku, we czwartek *Eden Théâtre*, w piątek Hipodrom, bale...

— Ale jakie bale?

— No, bale, jakie dają w Paryżu; szykowne bale, rozumie się. Ot, Herbinger na przykład, wiesz, ten, co pracuje w banku? Ależ tak, musisz go znać, to jeden z najelegantszych ludzi w Paryżu, ten wysoki, młody blondyn, co jest taki snob, ma zawsze kwiat w bu-tonierce, przedział z tyłu, jasne palto; chodzi zawsze z tym starym pudłem, które taszczy na wszystkie premiery. No więc! On wydał kiedyś bal, było na nim wszystko, co jest najszykowniejszego w Paryżu. Jak ja bym tam chciała być! Ale trzeba było pokazać zaproszenie przy wejściu, a nie mogłam dostać. W gruncie, wolę nawet, że nie byłam, ścisł był taki, że się dusili, nie byłabym nic widziała. To raczej dlatego, żeby móc powiedzieć, że się było u Herbingera. A ty wiesz, że ja nie mam za grosz próżności!... Zresztą mogę ci powiedzieć, że na stu, którzy opowiadają że tam byli, co najmniej połowa blaguje. Ale to mnie dziwi, że ty, taki gogo, nie byłeś tam...



Ale Swann nie starał się wcale zmodyfikować tego pojęcia szyku; uważając, że jego własne pojęcie nie jest prawdziwsze, że jest równie głupie i nieważne jak tamto, nie czuł żadnej potrzeby wszczepiania go swojej kochance. Toteż po miesiącach wspólnego życia jeżeli Odeta interesowała się osobami, u których Swann bywał, to jedynie dla kart wstępu na derby, na konkursy hippiczne, dla biletów na premiery, jakie mógł przez te osoby uzyskać. Odeta pochwałała stosunki tak użyteczne, ale skądinąd wzdragała się uznać je za coś „szykownego” od czasu, jak ujrzała na ulicy margrabinę de Villeparisis w czarnej wełnianej sukni, w czepku wiązonym na wstążki.

— Ależ ona wygląda jak bileterka, jak stara odźwierna, *darling!* To ma być markiza? Ja nie jestem markiza, ale trzeba by mi dużo zapłacić, żebym wyszła na ulicę w takich lachach!

Nie rozumiała, jak Swann może mieszkać w domu przy *Quai d'Orleans*; nie śmiejąc mu tego wyznać, uważała ten punkt za niegodny jego.

Zapewne Odeta miała tę pretensję, że lubi „antyki”, przybierała zachwyconą i subtelną minkę, mówiąc, że „ubóstwia” spędzać cały dzień na „szperaniu”, na wyszukiwaniu „starzyzny”, rzeczy z „epoki”. Mimo że miała niejako za punkt honoru (jak gdyby przestrzegała w tym tradycyjnej rodzinnej zasady) nigdy nie odpowiadać na pytania dotyczące spędzenia czasu i „nie zdawać sprawy” z użytku swoich dni, raz wspomniała Swannowi o przyjaciółce, która ją zaprosiła i u której wszystko było „z epoki”. Ale Swann nie zdołał z niej wydobyć, co to była za epoka. Zastanowiwszy się, Odeta odpowiedziała wreszcie, że to było „średniowieczne”. Rozumiała przez to, że były tam boazerie. W jakiś czas potem znów wspomniała o przyjaciółce i dodała wahająco, z ową porozumiewawczą miną, z jaką cytujemy osobę, z którą jedliśmy obiad wczoraj, której nazwiska nigdyśmy nie słyszeli, ale którą gospodarze domu najwyraźniej uważali za kogoś tak sławnego, że zapewne każdy będzie wiedział, o kim się mówi: „Ma salę jadalną z... wieku... osiemnastego”. Wydawało się jej to zresztą okropne, nagie, jak gdyby dom nie był skończony; kobiety wyglądają w tym fatalnie, ta moda nigdy się nie przyjmie. Wreszcie wracając do tego za trzecim razem, Odeta pokazała Swannowi adres artysty, który zrobił ową jadalnię: miała ochotę sprowadzić go, kiedy będzie miała pieniądze, i spytać, czy by nie mógł jej zrobić coś podobnego. Oczywiście nie taką samą, ale tę, o której marzyła i na którą niestety rozmiary jej willi nie pozwalały: z wysokimi kredensami, z meblami w stylu Odrodzenia, z kominami jak w zamku w Blois. Tego dnia zdradziła Swannowi, co myśli o jego domu na *Quai d'Orleans*: kiedy zganil, że przyjaciółka Odety wybrała fałszywy antyk, a nie Louis XVI, bo — powiadał — mimo że się tego nie robi, to może być urocze, Odeta rzekła: „Nie będziesz żądał, aby tkwiła, jak ty, w połamanych meblach i zniszczonych dywanach”; ile że solidne tradycje mieszczyki zwyciężyły w niej snobizm kokoty.

Ci, którzy lubią bibeloty, wiersze, którzy gardzą niskimi rachubami, marzą o miłości i honorze, tworzyli dla Odety elitę wyższą nad resztę ludzkości. Nie było zresztą konieczne mieć naprawdę te upodobania, byleby się je głosiło. O kimś, kto jej wyznał przy obiedzie, że lubi się waleśać po starych ulicach, grzebać się w starych sklepach, że nigdy nie będzie uznany przez ten kramarski wiek, bo się nie troszczy o swoje interesy, jak człowiek z innej epoki, Odeta powiadała za powrotem: „Jakaż to piękna dusza, jaka to uczuciowa natura, nigdy bym nie przypuszczała” i czuła dlań olbrzymią i nagłą sympatię. Ale w zamian za to ci, co jak Swann mieli te upodobania, ale nie mówili o nich, nie wzruszali jej. Bez wątplenia musiała przyznać, że Swann nie dba o pieniądze, ale dodawała z dąsem: „Ale u niego to nie to samo”. I w istocie do wyobraźni Odety przemawiał nie fakt bezinteresowności, ale jej słownik.

Czując, że często nie zdoła urzeczywistnić tego, o czym Odeta marzy, Swann starał się bodaj, aby się z nim dobrze czuła. Nie przeciwstawiał się jej pospolitości, jej złemu smakowi we wszystkim. Lubił zresztą ten zły smak jak wszystko, co pochodziło od niej; zachwycał go nawet, bo to był zbiór swoistych rysów, dzięki którym istota tej kobiety ujawniała mu się, stawała się widzialna. Czasami Odeta miała minkę szczęśliwą, bo miała iść na *Reine Topaze*, to znów wzrok jej stawał się poważny, niespokojny i uparty, kiedy się bała, że ją ominie święto kwiatów lub po prostu godzina herbaty z „tostami” i ciasteczkami w *Thé de la Rue Royale*, w którym to lokalu bywanie uważała za konsekrację eleganckiej kobiety. Wówczas Swann, zachwycony tak, jak nas zachwyca naturalność dziecka lub podobieństwo portretu „gotowego przemówić”, czuł tak dotykalnie duszę

kochanki spływającą na jej twarz, że nie mógł się oprzeć, aby tej twarzy nie dotknąć wargami.

— Ach, Odetka chce, żeby ją zaprowadzić na święto kwiatów, chce, aby ją tam podziwiano; więc dobrze, zaprowadzimy ją, nie pozostaje nic jak uchylić czoła.

Ponieważ Swann miał nieco krótki wzrok, musiał się posługiwać w domu okularami, w towarzystwie zaś nosił monokl, który go mniej szpecił. Za pierwszym razem, kiedy go Odeta zobaczyła z monoklem, nie mogła powstrzymać radości:

— Nie ma co, uważam, że dla mężczyzny to jest bardzo szykowne! Jak tobie w tym do twarzy. Prawdziwy gentleman. Brakuje ci tylko tytułu — dodała z odcieniem żalu.

Swann lubił, że Odeta jest taka, tak samo jak — gdyby się zakochał w Bretonce — lubiłby widzieć ją w czepku i słyszeć, że wierzy w strachy. Aż dotąd, jak u wielu ludzi, u których zamilowania artystyczne rozwijają się niezależnie od życia zmysłów, istniały w jego obyczajach i odczuwaniu dziwne rozbieżności. Swann kosztował w towarzystwie kobiet coraz to pospolitszych uroku dzieł coraz to bardziej wyrafinowanych, biorąc ładną pokojówkę do krytej łoży na jakąś interesującą go dekadencją sztukę lub na wystawę impresjonistów; — przekonany zresztą, że kobieta światowa i kulturalna zrozumiałaby nie więcej, a nie umiałaby tak przyjemnie siedzieć cicho. Ale, przeciwnie, od czasu jak kochał Odetę, tak słodko mu było odczuwać coś z nią wspólnie, mieć z nią jedną duszę, że starał się polubić rzeczy, które ona lubiła. Znajdował przyjemność nie tylko w naśladowaniu jej przyzwyczajzeń, ale w dzieleniu jej poglądów, które, ponieważ nie miały nic wspólnego z jego własnym intelektem, przypominały mu wyłącznie jego miłość — dla której przełożył je nad inne. Jeżeli szedł drugi raz na sztuczność w rodzaju *Serge Panine*, jeżeli starał się oglądać powożącego Oliviera Métra, to dla słodyczy przebywania w duchowym świecie Odety, dzielenia wszystkich jej gustów. Ten czar jej bliskości dawały Swannowi utwory lub miejsca, które Odeta lubiła; i był mu on bardziej tajemniczy niż urok dzieł lub widoków piękniejszych, ale które mu jej nie przypominały. Zresztą straciwszy po trosze wiarę w intelektualne zapęły swojej młodości, bezwiednie ostudzone sceptycyzmem światowca, Swann myślał (lub przynajmniej tak długo to myślał, że powtarzał to jeszcze), że gusty nasze nie mają żadnej bezwzględnej wartości, że wszystko jest rzeczą epoki, klasy i polega na modach, z których najpospolitsze tyleż są warte co najwytworniejsze. Uważał, iż waga, jaką Odeta przykładła do bytności na jakimś wernisażu, nie jest w zasadzie czymś śmieszniejszym niż przyjemność, jaką on sam niegdyś znajdował w tym, aby być na śniadaniu u księcia Walii. Tak samo nie uważał, aby zachwyt Odety nad Monte Carlo lub nad Righi był niedorzeczniejszy niż jego upodobanie w Holandii, która znów w oczach Odety była brzydka, i w Wersalu, który jej się wydawał smutny. Toteż wyrzekł się swoich gustów, znajdując słodycz w powiadaniu sobie, że czyni to dla niej, dla Odety, że chce czuć i lubić jedynie razem z nią.

Swann lubił dom Verdurinów jak wszystko, co otaczało Odetę, a co dla niego było jedynie formą widzenia jej, rozmawiania z nią. Treścią wszystkich rozrywek, obiadów, muzyki, gier, zabaw kostiumowych, wycieczek, teatru, nawet rzadkich „wielkich rautów” dla „nudziarzy” była dla Swanna obecność Odety, widok Odety, rozmowa z Odetą, z czego Verdurinowie zaproszeniami swymi czynili mu bezcenny dar. Toteż czuł się tam lepiej niż gdziekolwiek. Polubił „paczkę” i starał się jej przyznawać rzeczywiste wartości, wyobrażał sobie bowiem, że na swój gust tkwiłby w niej całe życie. Swann nie śmiał sobie powiedzieć — z obawy, że sam w to nie uwierzy — iż zawsze będzie kochał Odetę. Przyjmując tedy bodaj, że zawsze będzie bywał u Verdurinów (fakt, który a priori mniej w nim budził zasadniczych zastrzeżeń), Swann nadal widział w przyszłości codzienne spotkania z Odetą. To nie było może całkiem to samo, co kochać ją zawsze, ale na razie, dopóki ją kochał, wystarczyło mu wierzyć, że nie przestanie jej widywać ani przez jeden dzień.

„Co za przemile kółko — powiadał sobie. — Doprawdy, tam się naprawdę żyje! O ileż to środowisko jest inteligentniejsze, artystyczniejsze od tak zwanego „świata”. Jak ta pani Verdurin, mimo lekkiej przesady i niewinnych śmiesznośtek, szczerze kocha malarstwo, muzykę! Co za fanatyzm dla sztuki, co za pasja umiłania życia artystom! Ona ma błędne pojęcia o ludziach światowych, ale czyż „świat” nie ma jeszcze fałszywszego pojęcia o artystach! Może ja nie szukam w rozmowie zbyt wysokiego poziomu intelektualnego, ale to fakt, że się bardzo dobrze czuję z doktorem Cottard, mimo jego głupich kalamburów. A ten malarz, o ile jest pretensjonalny, kiedy się stara epatować, niewątpliwie jest

jedną ze świetniejszych inteligencji, jakie znałem. I przede wszystkim człowiek czuje się tam swobodny, robi, co chce, bez przymusu, bez ceremonii. Ileż wesołości spala się tam w ciągu wieczora! Stanowczo, poza rzadkimi wyjątkami, zawsze się będę trzymał tego kółka. Czuję, że tam się będą coraz bardziej skupiały moje przyzwyczajenia, moje życie.

Że zaś zalety, które Swann przypisywał Verdurinom, były jedynie odbłaskiem przyjemności, jakiej kosztował u nich przez Odetę, zalety te stawały się poważniejsze, głębsze, istotniejsze w miarę, jak owe przyjemności rosły. Pani Verdurin dostarczała czasem Swannowi tego, co było dlań jedynym szczęściem. Pewnego wieczora, kiedy się czuł niepokojny, bo Odeta rozmawiała z kimś dłużej, i kiedy podrażniony nie chciał jej pierwszy spytać, czy pozwoli się odwieźć, pani Verdurin przyniosła mu spokój i radość, mówiąc nagle: „Odeto, jedziesz z panem Swannem, prawda?”. Kiedy zbliżało się lato i Swann zawczasu niepokoił się, czy Odeta nie wyjedzie bez niego, czy będzie mógł ją nadal widywać co dzień, pani Verdurin zaprosiła ich oboje do siebie na wieś. Zaczem Swann, poddając bezwiednie swoją inteligencję i swoje sądy działaniu wdzięczności i interesu, posuwał się aż do konkluzji, że pani Verdurin to wielka dusza. Kiedy dawny kolega szkolny mówił mu o jakichś miłych lub znakomych ludziach, Swann odpowiadał: „Wolę sto razy Verdurinów”. I z emfazą, która była u niego czymś nowym, dodawał:

— To są ludzie wielkoduszni, a wielkoduszność jest w gruncie jedyną rzeczą, która coś znaczy i która ludzi określa. Widzisz, są tylko dwie klasy istot: ludzie wielkoduszni i — wszyscy inni. Ja doszedłem do wieku, w którym trzeba wybierać; trzeba zdecydować raz na zawsze, kogo się kocha, a kim się gardzi; trzymać się tych, których się kocha i nie opuszczać ich aż do śmierci, aby odrobić czas stracony z innymi. Tak! — dodał z owym lekkim wzruszeniem, którego doznajemy, kiedy nawet nie całkiem świadomie mówimy coś nie dlatego, że jest prawdą, ale dlatego, że sprawia nam przyjemność to mówić i kiedy słyszymy własny głos tak, jakby pochodził nie z nas, ale skądinąd — losy są rzucone, pragnę kochać jedynie serca wielkoduszne, żyć w atmosferze wielkoduszności. Pytasz mnie, czy pani Verdurin jest naprawdę inteligentna. Upewniam cię, że dała mi dowody szlachetności, wzniosłości, których, wierzaj mi, nie osiąga się bez inteligencji. To pewna, że ma głębokie poczucie sztuki. Ale nie w tym może jest najwspanialsza; ten czy ów drobny uczynek, delikatnie, czarująco dobry, który spełniła dla mnie, jakaś genialna usłużność, prosty a wzniosły gest, świadczą o głębszym zrozumieniu życia niż wszystkie traktaty filozofów.

Swann mógłby sobie powiedzieć, że istnieją dawni przyjaciele jego rodziców równie prości jak państwo Verdurin; dawni jego koledzy równie kochający sztukę; że znał innych ludzi o wielkim sercu, których wszakże, od czasu jak wybrał prostotę, sztukę i wielkoduszność, przestał widywać zupełnie. Ale ci ludzie nie znali Odety, a gdyby ją znali, nie staraliby się z pewnością zbliżyć jej do niego.

Nie było też z pewnością w całym kółku Verdurinów ani jednego „wiernego”, który by ich kochał — lub wyobrażał sobie, że ich kocha — tak bardzo jak Swann. Mimo to, kiedy pan Verdurin powiedział, że Swann mu się nie podoba, wyraził nie tylko własną myśl, ale odgadł myśl żony. Z pewnością, jak dla nich, Swann kochał Odetę zbyt „prywatnie”; nie postarał się uczynić pani Verdurin codzienną powiernicą tej miłości. Z gościnności państwa Verdurin korzystał dyskretnie, wymawiając się często od obiadu. Nie umiając zgadnąć przyczyny, widzieli w tym chęć podtrzymywania stosunków z „nudziarzami”. Wreszcie mimo całej dyskrecji Swanna odkrycia, jakie czynili co do jego świetnej sytuacji towarzyskiej również podsycali ich irytację. Ale najgłębsza racja tej niechęci była inna. Bardzo szybko mianowicie wyczuli w nim nieprzenikniony rezerwat, w którym nadal wierzył w milczeniu, że księżna de Sagan nie jest komiczną figurą i że dowcipy doktora Cottard nie są zabawne. Mimo iż Swann nigdy nie wyzbył się swojej uprzejmości i nie burzył się przeciw miejscowym dogmatom, pojmowali niemożność narzucenia mu ich, całkowitego nawrócenia go; czuli opór, jakiego nigdy nie spotkali u nikogo. Byliby mu przebaczyli, że bywa u „nudziarzy” (od których zresztą z głębi serca Swann wołał tysiąc razy Verdurinów i całą paczkę), gdyby zechciał dla dobrego przykładu wyprzeć się ich w obecności wiernych. Ale rozumieli, iż tego zaparcia się nie zdołają mu wydrzeć nigdy.

Co za różnica z „nowym”, którego Odeta wprowadziła świeżo, mimo że znała go jeszcze niewiele. Ów hrabia de Forcheville to był człowiek, w którym można było po-

klądać nadzieje! (Okazało się, ku zdumieniu wiernych, że jest szwagrem Saniette'a. Stary archiwista zachowywał się tak pokornie, iż zawsze uważano go tam za coś niższego towarzysko i nie spodziewano się, że należy do świata bogatego, niemal arystokratycznego.) To pewna, iż Forcheville — w przeciwieństwie do Swanna — był ciężki snob; to pewna również, że nie mógł się mierzyć ze Swannem co do oddania kółku Verdurinów. Ale nie miał owej wrodzonej delikatności, która nie pozwalała Swannowi wtórować pani Verdurin w jej zbyt niedorzecznych wycieczkach przeciw ludziom, których znał. Co się tyczy pretensjonalnych i rubasznych tyrad, w jakich czasami lubował się malarz, lub płaskich żarcików doktora Cottard, Swann, lubiąc ich obu, usprawiedliwiał łatwo owe słabostki, ale nie miał tej odwagi ani obludy, aby im przyklaskiwać; natomiast Forcheville znajdował się na poziomie intelektualnym, który mu pozwalał zachwycać się wypadami malarza (nie rozumiejąc ich zresztą), a rozkoszować się konceptami doktora. I właśnie pierwszy obiad u Verdurinów, na którym był Forcheville, oświetlił wszystkie te różnice, uwydatnił zalety nowego gościa, a przyspieszył niełaskę Swanna.

Był na tym obiedzie, poza zwykłymi uczestnikami, profesor Sorbony Brichot, który poznał państwa Verdurin u wód i który, gdyby zajęcia uniwersyteckie oraz prace naukowe nie pochłaniały go tak bardzo, lubiłby u nich bywać częściej. Bo Brichot miał tę ciekawość, ten zabobon „życia”, który połączony z niejakim sceptycyzmem w zakresie własnych studiów daje pewnym inteligentnym ludziom wszelkiego zawodu — lekarzom niewierzącym w medycynę, pedagogom niewierzącym w pensa łacińskie — reputację umysłów szerokich, świetnych, nawet niepospolitych. Rozprawiając u pani Verdurin o filozofii i historii, Brichot rozmyślnie dobierał porównań możliwie najwspółczesniejszych. Raz dlatego, że uważał, iż te nauki są jedynie przygotowaniem do życia, i wyobrażał sobie, że znajdzie w klanie Verdurinów w praktyce to, co znał dotąd jedynie z książek; następnie może i dlatego, że, przyswoiwszy sobie niegdyś i zachowawszy bezwiednie szacunek dla pewnych przedmiotów, sądził, iż zrzuci skórę profesorską, pozwalając w nich sobie na niejaki śmiałości. Ale, wręcz przeciwnie, śmiałości te wydawały mu się śmiałościami jedynie dlatego, że wciąż tkwił w swojej skórze.

Forcheville, znalazłszy się po prawej ręce pani Verdurin, która wysadziła się dla „nowego” na toaletę, rzekł: „To oryginalne, ta biała suknia”. Doktor, ciekawy wiedzieć, jak się zachowuje autentyczny hrabia, nie przestawał obserwować Forcheville'a, a równocześnie szukał sposobu ściągnięcia jego uwagi oraz wejścia z nim w stosunki. Chwytał w lot słowo „biała” i nie podnosząc nosa znad talerza, rzekł: „Biała? Biała dama? Może Blanka kastylska?” — po czym, nie poruszając głową, rzucił ukradkiem na prawo i lewo niepewne i uśmiechnięte spojrzenia. Podczas gdy Swann bolesną i daremną próbą uśmiechu zdradził, że koncept wydał mu się idiotyczny, Forcheville okazał zarazem, że ocenia dowcip doktora i że sam umie się znaleźć; toteż wesołość jego, szczerą, ale utrzymaną we właściwych granicach, oczarowała panią Verdurin.

— Co pan powie o takim uczonym? — zagadnęła Forcheville'a. — Nie ma sposobu dwóch minut rozmawiać z nim poważnie. Czy pan i w swoim szpitalu mówi takie rzeczy? — dodała, zwracając się do doktora — w takim razie nie musicie się tam nudzić z chorymi. Widzę, że będę musiała prosić, aby mnie tam przyjęto.

— Zdaje mi się, że doktor wspominał coś o tej starej jędzy, Blance kastylskiej, jeśli wolno się tak wyrazić. Nieprawdaż? — spytał Brichot pani Verdurin, która mdlejąc z przymkniętymi oczami, utopiła twarz w dłoniach, skąd dobywały się zduszone krzyki.

— Mój Boże, droga pani, nie chciałbym gorszyć cnotliwych dusz, o ile znajdują się przy tym stole, *sub rosa*... Uznaję zresztą, że nasza niewysłowiona republika ateńska — i jak ateńska! — mogłaby uczcić w tej obskuranczej Kapeciance pierwszego z prefektów policji herbu „za mordę”. Ależ tak, szanowny gospodarzu, ależ tak — podjął swoim dźwięcznym głosem, dobitnie artykułując sylaby, w odpowiedzi na jakiś protest pana Verdurin. — Kronika Saint-Denis, której świadectwa niepodobna jest kwestionować, nie zostawia pod tym względem żadnej wątpliwości. Laicyzujący proletariatus nie mógłby sobie obrać lepszej patronki niż tę matkę świętego. Musiała zresztą często gorszyć swego cnotliwego syna, jak twierdzi Suger i inne święte Bernardy; bo z każdym używała sobie wedle jego rangi.

— Kto jest ten pan? — pytał Forcheville pani Verdurin — to jakaś tęga głowa.

— Jak to, nie zna pan sławnego Brichot, znany jest w całej Europie.

— A! to Bréchet — wykrzyknął Forcheville, nie dosłyszawszy. — Bagatela, proszę siadać — dodał wlepiając w znakomitość szeroko otwarte oczy. — To zawsze jest ciekawe jeść sobie obiad ze sławnym człowiekiem. Ale, jak widzę, pani nas raczy tu samą śmietanką. Nie zdzudzi się człowiek u pani.

— Och! — rzekła skromnie pani Verdurin. — Najważniejsze jest, że oni się tu czują jak u siebie. Mówią, o czym chcą, słowa strzelają jak race. Na przykład Brichot; dziś wieczór to jeszcze nic. Widywałam go, wie pan, czasami tutaj, u mnie, był bajeczny, olśniewający, można było klęknąć przed nim; i czy pan uwierzy, gdzie indziej to już nie ten sam człowiek; traci cały dowcip, trzeba go ciągnąć za język, jest nawet nudny.

— To ciekawe! — rzekł Forcheville zdziwiony.

Rodzaj dowcipu, jaki rozwijał Brichot, uchodziłby za czyste osielstwo w koterii, w której Swann spędził młodość, mimo że nie wyklucza rzetelnej inteligencji. A inteligencji profesora, tegiej i soczystej, pozazdrościłoby z pewnością wielu światowców, których Swann uważał za dowcipnych. Ale ci właśnie ludzie zdołali mu zaszcześcić swoje gusty i uprzedzenia, przynajmniej co się tyczy życia światowego, nawet w tych jego strefach, które powinny by raczej należeć do dziedzin inteligencji, jak rozmowa; tym samym koncepty profesora Brichot musiały się wydać Swannowi pedantyczne, płaskie i niesmaczne. Przy tym Swanna, przyzwyczajonego do dobrych manier, raził szorstki, wojskowy niemal ton, w jakim militarystyczny profesor zwracał się do każdego. A może po prostu Swann wypadł tego wieczora ze swojej pobłażliwości, widząc nadmierną uprzejmość pani Verdurin dla Forcheville'a, sprowadzonego tu przez dziwny zaiste koncept Odety!

Trochę zakłopotana wobec Swanna Odeta spytała go na wstępie:

— Jak się panu wydaje mój protegowany?

Na co Swann, spostrzegając pierwszy raz, że Forcheville, którego znał od dawna, może się podobać kobietom i że jest wcale przystojnym mężczyzną, odpowiedział: „Potworny!”

Z pewnością nie przyszło mu na myśl być zazdrosnym o Odetę; ale nie czuł się równie szczęśliwy jak zwykle. Daremnie Brichot, zaczawszy opowiadać jakąś historię o matce Blanki kastylskiej, która „chodziła kilka lat z Henrykiem Plantagenet, zanim się za niego wydała”, i chcąc, aby go proszono o dalszy ciąg, zwrócił się do niego, mówiąc; „Prawda, panie Swann?” owym marsowym tonem, jaki się przybiera, aby zstąpić do poziomu wieśniaka lub dodać odwagi żołnierzowi; ku wściekłości pani domu Swann zepsuł Brichotowi efekt, przepaszając, że się zbyt mało interesuje Blanką kastylską, ale że ma o coś zapytać malarza. W istocie, malarz odwiedził owego dnia wystawę pewnego świeżo zmarłego artysty, przyjaciela pani Verdurin, i Swann pragnął się dowiedzieć (cenił bowiem smak „mistrza”), czy naprawdę w obecnie wystawionych dziełach jest coś więcej niż wirtuozostwo, które zdumiewało już w poprzednich.

— Z tego punktu widzenia to było nadzwyczajne; ale nie wydawało mi się sztuką, jak się to mówi, zbyt „na wyżynach” — rzekł Swann z uśmiechem.

— Na wyżynach... dziejowej odpowiedzialności — przerwał Cottard, podnosząc ręce z udaną powagą.

Cały stół parsknął śmiechem.

— Kiedy ja wam powiadam, że niepodobna z nim rozmawiać serio — rzekła pani Verdurin do Forcheville'a. — W chwili kiedy się człowiek najmniej spodziewa, on panu wyjedzie z jakąś bujną.

Pani Verdurin zauważyła, że jeden Swann się nie uśmiechnął. Nie był zresztą zbyt zadowolony, że Cottard zabawił towarzystwo jego kosztem w obecności pana Forcheville. Ale malarz, zamiast odpowiedzieć Swannowi serio, czego zapewne nie omieszkałby zrobić, gdyby byli sami, wolał olśnić zebranych brawurowym kawałkiem o technice zmarłego mistrza.

— Zbliżyłem się — rzekł — aby zobaczyć, jak to jest zrobione, wsadziłem nos w płótno. Ha, ha! Właśnie! Nie ma sposobu zgadnąć, czy to robione gumą, rubinem, mydłem, czy to malowane bążem, słońcem, łajnem....

— Ja mydłem, ty mydłeś... — zaczął odmieniać doktor, którego nikt nie zrozumiał.

— To wygląda niby nic — ciągnął malarz — nie ma sposobu odkryć triku, jak w *Roncie* albo w *Regentkach*; a to jest jako rozmach jeszcze tęższe od Rembrandta i od Halsa. Wszystko tam jest, ależ tak, przysięgam panu!

I jak śpiewak, który, doszedłszy do najwyższej nuty, jaką może wziąć, ciągnie dalej falsetem, piano, malarz szeptał ze śmiechem, tak jakby w istocie to malarstwo było aż komiczne siłą swojej piękności:

— Pachnie to, wierci człowiekowi w nosie, tamuje oddech, łaskocze i nie ma sposobu zgadnąć, czym to jest robione. To istne czary, szachrajstwo, cud — tu malarz wybuchnął głośnym śmiechem — to po prostu łajdackie!

Zatrzymał się, podniósł poważnie głowę i głębokim basem, który starał się uczynić harmonijnym, dodał: „A takie rzetelne!”.

W chwili gdy malarz powiedział: „tęższe niż *Ront*” — bluźnierstwo to wywołało od-ruch protestu ze strony pani Verdurin, uważającej *Ront* wraz z „*Dziwiątą*” i „*Samotra-ke*”, za największe arcydzieło świata. Przy słowach: „malowane łajnem” pan Forcheville spojrział dokoła dla przekonania się, czy wyrażenie uszło, po czym zaigrał na jego ustach ostrożny i pojednawszy uśmiech. Ale wszyscy, z wyjątkiem Swanna, wlepiali w malarza spojrzenia pełne podziwu.

— Jaki on paradny, kiedy się tak zapali — wykrzyknęła pani Verdurin szczęśliwa, że stół okazał się tak zajmujący właśnie w dniu, gdy Forcheville był u niej pierwszy raz. — A ty, czego ty siedzisz stumaniały z otwartą gębą? — rzekła do męża. — Wiesz przecie, że on umie mówić; myślałby kto, że on pierwszy raz pana słyszy. Gdyby go pan widział, podczas gdy pan mówił, pił mistrza oczami. I jutro wyrecytuje nam wszystko, co mistrz powiedział, nie polknąwszy ani słowa.

— Ale nie, to nie jest błaga — rzekł malarz zachwycony swoim sukcesem — pani widzę myśli, że ja tak sobie macham ozorem, że to bluff. Zaprowadzę tam panią, powie mi pani, czym przesadził; gwarantuję, że pani wróci jeszcze bardziej wzięta ode mnie!

— Ależ my nie myślimy, że pan przesadza; my byśmy tylko chcieli, żeby pan jadł i żeby mój mąż także jadł; podajcie jeszcze rybę panu, widzicie przecie, że jego ryba wystygła. Nie spieszy nam się tak, podajesz, jakby się paliło, z sałatą możecie trochę zaczekać.

Pani Cottard, która była skromna i mówiła mało, umiała mimo to nie zawahać się, kiedy szczęśliwe natchnienie podsunęło jej zręczne słówko. Czuli, że to, co powie będzie miało powodzenie; to jej dodawało odwagi; zresztą chodziło jej nie tyle o to, aby błyszczeć, co aby być użyteczną dla kariery męża. Toteż nie przepuściła słowa „sałata”, które wyrzekła pani Verdurin.

— Ale to nie jest „japońska sałata”? — rzekła półgłosem, zwracając się do Odety.

I, zachwycona i zmieszana celnością i zuchwalstwem, jakim była ta dyskretna, ale jasna aluzja do nowej i głośniejszej sztuki Dumasa, pani Cottard parsknęła uroczym śmiechem naiwności, niezbyt głośnym, ale tak nieodpartym, że przez dobrą chwilę nie mogła go opanować.

— Kto jest ta dama? Dowcipna jest! — rzekł Forcheville.

— Nie, ale zrobimy tę sałatę, jeżeli przyjdziecie wszyscy w piątek na obiad.

— Wydaję się panu wielka prowincjuszka — rzekła pani Cottard do Swanna — ale nie widziałam jeszcze słynnej *Francillon*, o której wszyscy mówią. Mąż już widział tę sztukę (przypominam sobie nawet, mówił mi, że bardzo mile spędził ten wieczór w pańskim towarzystwie) i przynaję, że nie wydawało mi się rozsądne, aby kupował fotele po to, żeby iść drugi raz ze mną. Oczywiście w Komedii Francuskiej wieczór nigdy nie jest stracony, grają tam zawsze tak świetnie; ale ponieważ mamy bardzo miłych przyjaciół (pani Cottard rzadko wymawiała nazwiska i poprzestawała na terminach: „nasi przyjaciele” albo „jedna z przyjaciółek”, przez dystynkcję, sztucznym tonem, z ważną miną osoby zwykłej wymieniać tylko wtedy, kiedy chce kogoś wymienić), którzy często miewają loże i są na tyle uprzejmi, aby nas zapraszać na wszystkie wartościowsze nowości, jestem pewna, że wcześniej lub później zobaczę *Francillon* i będę sobie mogła wyrobić zdanie. Ale muszę wyznać, że czuję się trochę głupia, bo gdziekolwiek się znajdę, wszędzie się mówi oczywiście o tej nieszczęśliwej japońskiej sałacie. To zaczyna nawet być męczące — dodała, widząc że Swann nie zainteresował się tak, jakby można było przypuszczać, tą palącą aktualnością. — Ale trzeba przyznać, że to daje czasem temat do dosyć zabawnych pomysłów. I tak, mam przyjaciółkę: bardzo oryginalna, mimo że śliczna kobieta; bardzo otoczona, bardzo światowa; otóż ona twierdzi, że kazała u siebie zrobić tę sałatę japońską i to pakując do niej wszystko, co pan Dumas wymienia w swojej sztuce. Zaprosiła kilka przyjaciółek, żeby przyszły to jeść. Na nieszczęście, nie należałam do wybranych. Ale

opowiedziała nam to później, na swoim żurku: zdaje się, że to było okropne, uśmiełyśmy się do łez. Ale pan wie, wszystko zależy od sposobu opowiedzenia — rzekła widząc, że Swann zachował poważną minę.

Przypuszczając, iż to może dlatego, że nie lubi *Francillon*, dodała:

— Zresztą boję się, że będę miała zawód. Nie sądzę, aby to było takie jak *Serge Panine*, bożyszcze pani de Crécy. To są przynajmniej tematy, które mają treść, które zmuszają do myślenia; ale dawać przepis na sałatę na scenie Komedii Francuskiej! Za to *Serge Panine*! Zresztą wszystko, co wychodzi spod pióra pana Ohnet, jest zawsze tak dobrze napisane! Nie wiem, czy pan zna *Właściciela Kuźnic*, którego bym postawiła jeszcze wyżej niż *Serge Panine*.

— Daruje pani — rzekł Swann z ironiczną miną — ale wyznaję, że mój brak podziwu jest prawie jednaki dla obu tych arcydzieł.

— Doprawdy, co im pan zarzuca? Czy to z zasady? Czy pan znajduje, że to trochę smutne? Zresztą, zawsze powtarzam, że nigdy nie trzeba dyskutować ani o powieściach, ani o teatrze. Każdy ma swój sposób widzenia; co mnie się najbardziej podoba, panu może się zdawać okropne.

Przerwał jej Forcheville, zagadując Swanna. W istocie, podczas gdy pani Cottard mówiła o *Francillon*, Forcheville wyraził pani Verdurin swój podziw dla tego, co nazywał małym *speechem* malarza.

— Ten pan ma łatwość słowa, pamięć! — rzekł do pani Verdurin, kiedy malarz skończył — jak się doprawdy rzadko spotyka. Do kata! Chciałbym tak umieć. Byłby z niego tęgi kaznodzieja. Można powiedzieć, że wraz z panem Brechot, ma pani dwa egzemplarze warte siebie wzajem, a nie wiem, czy jako swada ten malarz nie dałby jeszcze mata profesorowi. Płynie mu to bardziej naturalnie, mniej jest wyszukane. Pozwolił sobie co prawda mimochodem na parę nieco realistycznych wyskoków, ale to jest dzisiejszy styl. Nie często widziałem, aby kto miał taką wyparzoną gębę, jak mawialiśmy w pułku, gdzie jeden z kolegów przypominał mi trochę tego malarza. O byle czym, nie wiem jak państwu powiedzieć, o tej szklance na przykład, mógł gadać całe godziny; nie, nie o szklance, głupstwo mówię, ale o bitwie pod Waterloo, o czym tylko państwo chcecie, i kropił nam z punktu rzeczy, które by nikomu na myśl nie przyszły. Zresztą Swann był w tym samym pułku, musiał go znać.

— Czy pan często widuje pana Swanna? — spytała pani Verdurin.

— Ależ nie — odparł. Aby się łatwiej zbliżyć do Odety, Forcheville chciał się przybliżyć Swannowi; pochwylił więc tę sposobność, aby mu pochlebić, natrącając o jego wysokich stosunkach, ale tonem człowieka światowego, tonem przyjaznej krytyki, a nie jakby mu ich wieszował niby niespodzianego sukcesu — Prawda, Swann? Nie widuję cię nigdy. Zresztą, jakim cudem go spotkać? To zwierzę tkwi ciągle u samych La Tremoille, u des Laumes, u samych takich!...

Informacja była mylna, ile że od roku Swann bywał prawie tylko u Verdurinów. Ale same nazwiska osób, których Verdurinowie nie znali, spotkały się z pełnym nagany milczeniem. Pan Verdurin, obawiając się przykrego wrażenia, jakie owe nazwiska „nudziarzy”, rzucone zwłaszcza tak bez taktu w twarz wszystkich wiernych, musiały zrobić na jego żonie, zwrócił na nią ukradkiem spojrzenie pełne niespokojnej troski. Ujrzał wówczas, że w swoim postanowieniu nieprzyjęcia niczego do wiadomości, nieprzejmowania się udzieloną jej nowiną, pani Verdurin pozostała nie tylko niema, ale głucha, tak jak czynimy, kiedy niewierny przyjaciel próbuje wsunąć w rozmowę usprawiedliwienie (wysłuchać bez protestu, znaczyłoby przyjąć je) lub kiedy ktoś wymawia przy nas zabronione imię niewdzięcznika. Milczenie pani Verdurin wyrażało nie zgodę, ale było nic niewiedzącą ciszą rzeczy martwych. Odarła nagle swoją twarz z wszelkiego życia, z wszelkiego ruchu; wydatne jej czoło było już tylko pięknym studium krągłej wyniosłości, w którą nazwisko owych La Tremoille, wybrańców Swanna, nie mogło wnikać; rysunek lekko zmarszczonego nosa zdawał się skopiowany z natury. Rzekłbyś, że rozchylone usta przemówią. To już był tylko wosk, maska gipsowa, makietka pomnika, biust z *Palais de l'Industrie*, przed którym publiczność zatrzymywałaby się z pewnością, aby podziwiać, jak rzeźbiarz, wyrażając nieopisaną godność Verdurinów, przeciwstawioną nazwiskom La Tremoille i des Laumes — od których z pewnością nie są gorsi, jak od wszystkich „nudziarzy” na kuli ziemskiej — zdołał dać pontyfikalny niemal majestat białości i twardości kamienia. Ale

marmur ożywił się w końcu i oznajmił, że trzeba mieć zdrowie, aby chodzić do tych ludzi, bo pani jest zawsze pijana, a mąż tak ciemny, że mówi *dzień powszechny* zamiast *dzień powszedni*.

— Choćby mi grubo płacono, nie wpuściłabym czegoś takiego do swego domu — zakończyła pani Verdurin, spoglądając władczo na Swanna.

Nie spodziewała się z pewnością, aby Swann poddał się bez zastrzeżeń, jak to uczyniła ciotka pianisty, która ze świętą naiwnością wykrzyknęła:

— Patrzcie państwo! Ale co najdziwniejsze, to że oni zawsze znajdują kogoś, kto się zechce z nimi zadawać. Mnie się zdaje, że ja bym się bała; tak łatwo można wdepnąć. Jakim cudem może być jeszcze naród taki ciemny, żeby się uganiać za takimi.

Czemuz Swann nie odpowiedział bodaj jak Forcheville: „Ba, zawsze to księżna; są jeszcze ludzie, na których to działa”, co by pozwoliło pani Verdurin odpowiedzieć: „Niechże im będzie na zdrowie!”. Zamiast tego Swann rozśmiał się po prostu w sposób, który oznaczał, że nie może nawet brać serio podobnych niedorzeczności. Pan Verdurin, wciąż zerkając na żonę, widział ze smutkiem i rozumiał aż nadto dobrze, że nią miota gniew Wielkiego Inkwizytora, który nie może wytepić herezji. Aby więc skłonić Swanna do odrzeczenia się (ile że odwaga własnego zdania wydaje się zawsze rachubą i tchórzostwem w oczach tych, przeciw którym się zwraca), pan Verdurin zagadnął go:

— Niechże pan powie szczerze, co pan myśli, my im nie powtórzymy.

Na co Swann odparł:

— Ależ to bynajmniej nie przez strach przed księżną (jeżeli państwo mówicie o pani La Tremoille). Upewniam pana, że wszyscy z rozkoszą bywają u niej. Nie będę twierdził, aby była „głęboka”... — Swann wymówił „głęboka” tak, jakby to było słowo komiczne; język Swanna bowiem zachował ślady nawyków, które pewna odnowa charakteru, w związku ze świeżym kultem muzyki, zatarła w nim chwilowo, tak iż obecnie wyrażał niekiedy swoje poglądy z zapalem. — Ale, mogę powiedzieć bardzo szczerze, księżna jest inteligentna, a jej mąż wszechstronnie wykształcony. To są przemili ludzie.

Pani Verdurin uczuła, że opór jednego niewiernego może stanąć na drodze w zniszczeniu moralnej jedności „paczki”. Wściekła na uparciucha, który nie widział, ile jego słowa sprawiają jej bólu, nie mogła się wstrzymać, aby nie krzyknąć z głębi serca:

— Niech pan tak myśli, skoro pan chce, ale przynajmniej niech nam pan tego nie mówi.

— Wszystko zależy od tego, co pan nazywa inteligencją — rzekł Forcheville, który też chciał zabłysnąć. — No, Swann, co pan rozumiesz pod inteligencją?

— Właśnie! — krzyknęła Odeta — To są te wielkie rzeczy, o których wytłumaczenie wciąż go proszę, ale on nigdy nie chce.

— Ależ owszem... — zaprotestował Swann.

— Gadanie! — rzekła Odeta.

— Austriackie? — spytał doktor.

— Dla pana — podjął Forcheville — inteligencja to światowa paplanina, to umiejętność chodzenia na dwóch łapkach?

— Skończcie pan tę przystawkę, żeby można było sprzątnąć talerz — rzekła pani Verdurin cierpko do Saniette’a, który pogrążony w myślach przestał jeść. I może nieco zawstydzona swoim tonem dodała — Nic nie szkodzi, ma pan czas; jeżeli to mówię, to w interesie innych gości, bo to tamuje usługę.

— Bardzo ciekawe określenie inteligencji — rzekł Brichot, wybijając sylaby — dał ten słodki anarchista Fénelon...

— Słuchajcie! — rzekła do Forcheville’a i do doktora pani Verdurin — Brichot da nam definicję inteligencji wedle Fénelona; to ciekawe, nie zawsze ma człowiek sposobność coś takiego słyszeć.

Ale Brichot czekał, żeby Swann dał swoje określenie. Swann nie odpowiedział, niewzruszając tym biernym uporem świetny turniej, którym szczęśliwa pani Verdurin gotowała się uraczyć pana de Forcheville.

— Naturalnie, to tak jak ze mną — rzekła Odeta z dąsem — cieszę się, że nie jestem jedyna, do której pan Swann nie raczy się zniżyć.

— Czy ci de la Trémouaille, których pani Verdurin zarekomendowała nam jako niezbyt godnych poznania — spytał Brichot artykułując dobitnie wyrazy — pochodzą od



tych, z którymi pocziwa snobka, pani de Sévigné, rada była (jak mówiła sama) zawrzeć znajomość, bo to zrobi dobre wrażenie na jej kmiotkach? Prawda, że zacna markiza miała inną rację, dla niej najważniejszą, bo dla tej nałogowej dziennikarki skrypt był przede wszystkim. Otóż w gazetce, którą pani de Sévigné przysyłała regularnie córce, pani La Trémouaille, dobrze udokumentowana dzięki swoim wysokim krewieństwu, robiła „politykę zagraniczną”.

— Ale nie, nie sądzę, aby to była ta sama rodzina — rzekła na oślep pani Verdurin.

Saniette od czasu, jak spiesźnie oddał lokajowi pełny jeszcze talerz, wrócił do swojej milczącej zadumy. Teraz ocknął się, aby ze śmiechem opowiedzieć historię swego obiadu z księciem de la Tremoille; z której to historii wynikało, że książę nie wie, iż George Sand to był pseudonim kobiety. Swann, który lubił Saniette’a, uważał za właściwe podać mu szczegóły świadczące o kulturze księcia i dowodzące, że taka ignorancja byłaby u niego czymś niemożliwym, ale nagle urwał. Zrozumiał, że Saniette nie potrzebuje tych dowodów, że wie, iż historyjka jest fałszywa, bo ją po prostu sam przed chwilą wymyślił. Saniette, poza tym zacny człowiek, bolał, że go Verdurinowie uważają za tak bardzo nudnego; w poczuciu, że przy obiedzie jeszcze mniej błyszczał niż zwykle, nie chciał wstać od stołu, nie zabawiwszy trochę towarzystwa. Skapitulował szybko, zboląły, że go zawiódł spodziewany efekt; i wołać, aby Swann nie wdawał się już w zbyteczne sprostowania, odparł tchórzliwie: „Dobrze już, dobrze. W każdym razie, nawet gdybym się mylił, to nie jest chyba zbrodnia”. Swannowi zrobiło się go żal; rad byłby znów powiedzieć, że historyjka jest prawdziwa i urocza. Doktor, który się przysłuchiwał, uznał, że to jest miejsce, aby powiedzieć: „Se non e vero”; ale nie był dość pewien słów i bał się zaplątać.

Po obiedzie Forcheville sam z siebie podszedł do doktora:

— Musiała być niebrzydka ta pani Verdurin, no i to jest kobieta, z którą da się rozmawiać; dla mnie to jest najważniejsze. Szkoda, że zaczyna być trochę ciężkawa. Za to pani de Crécy to kobietka, która wydaje się diablo inteligentna; a, do stu diabełków, widać zaraz, że ona ma wszystko tam, gdzie trzeba! Mówimy o pani de Crécy — rzekł do pana Verdurin, który się zbliżył z fajeczką w zębach. — Wyobrażam sobie, że jako ciało...

— Wolalbym mieć w łóżku ją niż złamaną nogę — rzekł spiesźnie Cottard, który od paru chwil czekał na próżno, aż Forcheville zaczerpnie oddech, aby ulokować ten stary koncept. Tak się bał, iż, o ile rozmowa zmieni przedmiot, koncept przestanie być aktualny, że wypowiedział go z owym nadmiarem swobody i pewności siebie, które daremnie maskują nieodłączny od chęci popisu chłód i tremę. Forcheville znał ten dowcip, toteż ubawił się nim. Co się tyczy pana Verdurin, ów nie certował się ze swą wesołością, bo znalazł od niedawna na wyrażenie jej symbol różny od tego, którym się posługiwała jego żona, ale równie prosty i jasny. Ledwie jąwszy poruszać głowę i ramionami jak ktoś, kto pęka od śmiechu, zaraz zaczynał kaszleć, tak jakby, śmiejąc się za mocno, połknął dym z fajeczki; i wciąż trzymając fajkę w zębach, przedłużał nieograniczenie imitację duszenia się i wesołości. Tak on i pani Verdurin, która naprzeciwno, słuchając jakiejś historii marlarza, zamykała oczy, nim ukryła twarz w dłoniach, wyglądali jak dwie teatralne maski na różne sposoby wyobrażające wesołość.

Pan Verdurin uczynił roztropnie, nie wyjmując fajeczki z ust, bo Cottard, zmuszony oddalić się na chwilę, zrobił półgłosem żarcik, którego niedawno się nauczył i powtarzał go za każdym razem, kiedy się miał udać w to miejsce: „Muszę pomówić chwilę z księciem Aumale”; tak że krztuszenie się pana Verdurin zaczynało się na nowo.

— Słuchaj, wyjmij fajkę z ust, widzisz przecie, że się w końcu udusisz od tego hamowania śmiechu — rzekła do męża pani de Verdurin, częstując równocześnie gości likierami.

— Co za przemily człowiek, pani mąż, ile on ma dowcipu! — oświadczył Forcheville pani Cottard — Dziękuję pani. Stary wiarus jak ja nie gardzi nigdy lyczkiem.

— Pan de Forcheville oczarowany jest Odetą — rzekł Verdurin do żony.

— A, Odeta miałaby ochotę zająć kiedy do nas z panem na śniadanie. Ułożymy to, ale nie trzeba, żeby Swann wiedział. Wie pan, on trochę psuje nastrój. To panu nie przeszkodzi przychodzić na obiad, oczywiście; mamy nadzieję widywać pana bardzo często. Zbliża się piękny czas, będziemy jadali często na powietrzu. To by pana nie nudziło zjeść czasem obiad w Lasku? Świetnie, to będzie bardzo przyjemne. — Czy ten tam nie myśli

pilnować swego rzemiosła, hej! — krzyknęła pani Verdurin na młodego pianistę, chcąc wobec „nowego” tej klasy co Forcheville popisać się zarazem i swoim dowcipem, i swoją tyrańską władzą nad wiernymi.

— Pan de Forcheville właśnie cię obmawiał przede mną — rzekła pani Cottard do męża, który wrócił do salonu.

Cottard, pochłonięty myślą o tytule Forcheville’a (co go zaprzętało od początku obiadu), rzekł doń:

— Leczę w tej chwili pewną baronową, panią de Putbus. Putbusowie brali udział w krucjatach, prawda? Mają na Pomorzu jezioro dziesięć razy większe niż plac Zgody. Leczę ją na artretyzm, urocza kobieta. Zna zresztą panią Verdurin, o ile mi się zdaje.

Co pozwoliło panu de Forcheville, kiedy się znalazł w chwili potem z panią Cottard, uzupełnić pochlebny sąd o jej mężu:

— Do tego człowiek taki interesujący; zaraz widać, że zna świat. Ba, lekarze wiedzą tyle rzeczy.

— Zagram motyw z sonaty dla pana Swanna? — rzekł pianista.

— Czy to będzie sonata za grajcar? — spytał dowcipny Forcheville, robiąc aluzję do „kreutzerowskiej”.

Ale Cottard, który nigdy nie słyszał tego kalamburu, nie zrozumiał. Zbliżył się żywo, aby to rozjaśnić.

Forcheville wytłumaczył mu aluzję. Doktor zaczerwienił się.

— Niech pan przyzna, doktorze, że to zabawne.

— Och, znałem to od dawna — odparł Cottard.

Ale zamilkli; pod drganiem skrzypcowego tremolo, które ją chroniło swoim drżącym oparciem o dwie oktawy wyżej — jak w górskiej okolicy za pozorną i zawrotną nieruchomością wodospadu widzi się o dwieście stóp niżej maleńki kształt turystki — fraza Vinteuila ukazała się, daleka, wdzięczna, chroniona długim rozwijaniem się przez zroczyściej, ciągłej i dźwięcznej zasłony. I Swann w sercu swoim zwrócił się do niej niby do powiernicy swojej miłości, jak do przyjaciółki Odety, która powinna by przecież powiedzieć Odecie, żeby nie zwracała uwagi na tego Forcheville.

— A, pan przychodzi późno — rzekła pani Verdurin do jednego z wiernych, którego zaprosiła jedynie jako „wykałaczkę”. — Mieliśmy niezrównanego Brichota, co za wymowa! Ale poszedł. Prawda, panie Swann? Przypuszczam, że pan się z nim pierwszy raz spotkał — rzekła, aby podkreślić, że Swann jej zawdzięcza tę znajomość. — Prawda, rozkoszny był nasz Briszocik?

Swann skłonił się grzecznie.

— Nie? Nie zajął pana? — spytała sucho pani Verdurin.

— Ależ owszem, pani, byłem zachwycony. Jest może trochę zbyt apodyktyczny i zbyt jowialny jak na mój gust; wolałbym czasem u niego więcej wahania, więcej miękkości; ale czuć, że tyle rzeczy wie... Wygląda zresztą na bardzo zacnego człowieka.

Goście rozeszli się późno. Pierwsze słowa doktora do żony były:

— Rzadko widziałem panią Verdurin w tak dobrym usposobieniu.

— Co to jest właściwie ta Verdurin, eks-kokota? — spytał Forcheville malarza, któremu zaproponował wspólny powrót.

Odeta patrzyła z żalem za oddalającym się Forchevillem, nie śmiała się wykręcić od powrotu ze Swannem, ale w drodze była kwaśna, a kiedy spytał ją, czy ma wstąpić, odparła: „Rozumie się”, wzruszając niecierpliwie ramionami.

Kiedy wszyscy goście wyszli, pani Verdurin rzekła do męża:

— Widziałeś, jak Swann głupio się śmiał, kiedyśmy mówili o pani La Tremoille?

Zauważyła, że przed tym nazwiskiem Swann i Forcheville kilka razy opuścili słówko „de”. Nie wątpiąc, iż chcieli tym okazać, że ich nie onieśmielają tytuły, naśladowała ich ambit, ale niedobrze pochwyliła jego formę gramatyczną. Toteż błędny sposób mówienia odnosił zwycięstwo nad republikańską niezależnością pani Verdurin; mówiła także „ci de la Tremoille” lub raczej, skrótem używanym przez piosenkarzy i karykaturzystów, którzy lykali „de”, „d’La Tremoille”; ale odbijała to sobie, mówiąc: „Pani La Tremoille”. — „Księżna”, jak powiada Swann — dodała pani Verdurin z ironicznym uśmiechem mającym dowieść, że ona tylko cytuje, nie biorąc na swój rachunek równie naiwnej i śmiesznej tytułatury.

— Powiem ci, że mi się wydał straszliwie głupi.

A pan Verdurin odpowiedział:

— On nie jest szczery, to jegomość bardzo ostrożny, zawsze na dwóch stołkach. Zawsze wilk, koza i kapusta. Co za różnica z tym Forcheville. To przynajmniej człowiek, który powie ci wręcz, co myśli. Wóz albo przewóz, nie tak jak tamten, który jest zawsze ni pies ni wydra. Zresztą Odeta diablo mi na to wygląda, że woli Forcheville'a, i przyznając jej słusność. Ten głupi Swann chce nam tu odwalić światowca, trubadura księżniczki. Tamten ma przynajmniej tytuł: zawsze to hrabia de Forcheville — dodał pan Verdurin z miną smakosza, jak gdyby, biegły w historii owego hrabstwa, odważał drobiazgowo jego swoistą wartość.

— Powiem ci — rzekła pani Verdurin — że Swann uważał za właściwe cisnąć na Brichota parę jadowitych i dosyć pociesznych insynuacji. Oczywiście, skoro widział, że my tu Brichota kochamy, to był dla niego sposób, aby nas osiągnąć, aby sponiewierać nasz obiad. Czuć w nim miłego koleżkę, który cię obmówi za drzwiami.

— Ależ ja ci dawno mówiłem — rzekł pan Verdurin — Swann, to skrachowany geniusz, mała figurka, zawistna o wszystko, co ją przerasta.

W rzeczywistości nie było „wiernego”, który by był mniej złośliwy od Swanna. Ale wszyscy oni mieli tę ostrożność, aby zaprawiać obmowę starymi dowcipami, małą dawką ciepła i serdeczności, podczas gdy widziano perfidię w najlżejszym zastrzeżeniu Swanna, który nie raczył się zniżać do utartych zwrotów w rodzaju: „Mówię to bez cienia złej intencji”. Istnieją autorowie, u których najmniejsza śmiałość oburza, dlatego że nie poglaskali wpięrcz gustów publiczności i nie poczęstowali jej komunałami, do których przywykła; z tego samego powodu Swann oburzał pana Verdurin. U Swanna, jak u tych pisarzy, nowość stylu kazała wierzyć w szpetotę intencji.

Swann nie wiedział jeszcze o niełasce grożącej mu u Verdurinów i nadal widział ich śmieszności w różowym świetle, poprzez swoją miłość.

Zazwyczaj spotykał się z Odetą aż wieczór; ale w ciągu dnia, bojąc się ją zmęczyć swymi wizytami, rad byłby bodaj zaprzętnąć jej myśli; wciąż szukał sposobności przypomnienia się jej, ale w miły dla niej sposób. Jeżeli w oknie kwiaciarni albo u jubilera zachwyił go jakiś krzew lub klejnot, pierwszą myślą Swanna było posłać je Odecie; wyobrażał sobie, że ona podzieli przyjemność, jaką on odczuł, że miłość jej wzrośnie od tego. Natychmiast dawał odnieść upominek na ulicę La Pérouse; pilno mu było do chwili, w której przez fakt obdarowania uczuje się poniekąd blisko Odety. Dbał zwłaszcza o to, aby Odeta otrzymała przesyłkę przed wyjściem z domu: kupował tym sobie prawo do jej czulszego powitania, kiedy ją spotka u Verdurinów. A nawet, kto wie, jeśli się pośpieszą z odesłaniem, może go czeka przed obiadem list Odety, może wreszcie ona zjawi się we własnej osobie, aby mu podziękować! Jak niegdyś doświadczał na Odecie reakcji urazy, tak teraz starał się za pomocą odruchów wdzięczności wydobyć z niej sekretne cząstki uczucia, których mu jeszcze nie odsłoniła.

Często Odeta miała kłopoty pieniężne; nagłona jakimś długiem, prosiła Swanna, aby jej przyszedł z pomocą. Uszczęśliwiała go to jak wszystko, co mogło dać Odecie wysokie pojęcie o jego miłości lub po prostu o jego wpływach, o pożytku, jaki może mieć z niego. Bez wątplenia, gdyby mu kto powiedział na początku: „jej się podoba twoja pozycja”, a teraz: „jeżeli cię kocha, to dla twojego majątku”, Swann nie byłby uwierzył; nie miałby zresztą nic przeciw temu, aby uważano Odetę za związaną z nim czymś tak mocnym jak snobizm lub pieniądze. Ale, gdyby nawet myślał, że to jest prawda, może nie byłby cierpiał, odkrywając w miłości Odety pobudkę trwalszą niż jego osobiste powaby i zalety; interes, interes zdolny odsunąć na zawsze dzień, w którym Odeta byłaby go skłonna porzucić. Na razie, obsypując ją podarkami, oddając jej przysługi, Swann mógł zdać się na te przewagi niezwiązane z jego osobą, z jego inteligencją; mógł wytchnąć w wyczerpującym staraniu podobania się jej sam przez siebie. I jako smakosz niematerialnych wzruszeń chętnie opłacał rozkosz kochania, istnienia jedynie miłością, rozkosz, o której rzeczywistości wątpił niekiedy; a cena, którą płacił, pomnażała mu wartość tej rozkoszy. Tak ludzie niepewni, czy widok morza i szmer fal są pełne uroku, przekonują się o tym — zarówno jak o subtelności swoich bezinteresownych upodobań — wynajmując za sto franków dziennie pokój z widokiem w hotelu.

Tego rodzaju refleksje sprowadzały Swanna do epoki, kiedy mu mówiono o Odecie jako o „utrzymance”. Bawił go kontrast tej dziwacznej personifikacji: utrzymanka — migotliwy amalgamat nieznanych i diabolicznych elementów, oprawny niby wizja Gustawa Moreau w zatrute kwiaty splecione z drogimi kamieniami; — i Odeta, na której twarzy widział grające uczucia litości dla nędzarza, oburzenia na niesprawiedliwość, wdzięczności za dobrodziejstwo; te same, które oglądał niegdyś u własnej matki, u swoich przyjaciół; Odeta, która w rozmowie często potrącała rzeczy tak dobrze mu znajome, jego zbiory, jego pokój, starego służącego, bankiera, u którego Swann lokował kapitały. Ten ostatni obraz: bankier, przypomniał Swannowi, że trzeba mu podjąć pieniądze. W istocie, gdyby w tym miesiącu mniej hojnie przyszedł Odecie z pomocą niż w zeszłym, w którym dał jej pięć tysięcy franków, gdyby jej nie ofiarował upragnionej diamentowej riwieri, nie odnowiłby w Odecie podziwu dla jego hojności; nie odrodziłby jej wdzięczności, która go czyniła tak szczęśliwym; naraziłby się wręcz na przypuszczenie, że jego miłość się zmniejszyła, skoro jej dotykalne objawy maleją. Wówczas nagle Swann zapytał sam siebie, czy nie to właśnie znaczy „utrzymywać” kobietę (jak gdyby w istocie owo pojęcie „utrzymywania” mogło się wyłaniać z elementów wcale nie tajemniczych ani przewrotnych, ale należących do jego codziennego i prywatnego życia, jak ten banknot tysiącfrankowy, domowy i zwyczajny, przedarty i sklejonny, który jego kamerdyner, zapłaciwszy rachunki miesięczne i komorne, włożył do szuflady starego biurka, skąd go wziął Swann, aby wraz z czterema innymi posłać go Odecie) i czy nie można zastosować do Odety od czasu ich znajomości (bo nie posądzał jej ani przez chwilę, aby mogła kiedykolwiek wprzód przyjąć pieniądze od kogo innego) tego słowa „utrzymanka”, które zdawało mu się tak z nią niewspółmierne.

Nie mógł zgłębić tego problemu, bo lenistwo myśli, które było u Swanna dziedziczne, periodyczne i opatrnościowe, zgasiło w tej samej chwili wszelką jasność jego inteligencji, równie nagle jak później, kiedy zaprowadzono wszędzie elektryczność, można było wyłączyć światło. Myśl Swanna błędziła chwilę w ciemności; zdjął okulary, przetarł szkła, przeciągnął ręką po oczach i ujrzał z powrotem światło dopiero wówczas, kiedy się znalazł w obliczu zupełnie odmiennej myśli: mianowicie, że w następnym miesiącu trzeba by posłać Odecie zamiast pięciu tysięcy sześć albo siedem tysięcy franków, aby jej sprawić niespodziankę i radość.

Wieczorem, kiedy nie siedział w mieszkaniu oczekując godziny spotkania Odety u Verdurinów (lub raczej w jednej z letnich restauracji w Lasku, a zwłaszcza w Saint-Cloud, które lubili), Swann szedł na obiad do któregoś z wytwornych domów, gdzie niegdyś bywał stałym gościem. Nie chciał tracić kontaktu z ludźmi, którzy — cóż można wiedzieć? — mogliby kiedyś przydać się Odecie i dzięki którym na razie udawało mu się często zrobić jej przyjemność. Zarazem długotrwałe jego przyzwyczajenie do świata, do zbytku, wszczepiło Swannowi — równocześnie z ich lekceważeniem — ich potrzebę: od chwili gdy najskromniejsze klitki wydawały mu się czymś zupełnie równoważącym z najbardziej książęcymi apartamentami, organy jego tak dalece przywykły do apartamentów, że doznawałyby niejkiej przykrości, znalazłszy się w klitkach. Swann miał ten sam szacunek — nikt nie uwierzyłby do jakiego stopnia! — dla skromnych mieszczan, tańczących na piątym piętrze schodów D, sięń na lewo, co dla księżnej parmeńskiej, która wydawała najpiękniejsze bale w Paryżu; ale nie miał wrażenia bału, siedząc wraz z ojcami rodzin w sypialni pani domu, widok zaś umywalni przykrytych serwetkami, łóżek przeobrażonych w szatnie, spiętrzonych paltami i kapeluszami, przyprawiał go o to samo wrażenie duszności, jakie dziś ludziom przyzwyczajonym od dwudziestu lat do elektryczności może sprawiać zapach kopczącej lampy lub smrodliwej lampki nocnej.

W dniu, w którym Swann miał jakiś proszony obiad, kazał zaprzęgać na wpół do ósmej i ubierał się, myśląc o Odecie. W ten sposób nie czuł się sam; ciągnęła myśl o Odecie dawała chwilom rozłąki ten sam swoisty urok, co chwilom pędzonym koło niej. Siadał do powozu, ale czuł, że ta myśl wskoczyła z nim równocześnie i sadowiła się na jego kolanach niby ukochane zwierzę, które bierze się wszędzie i które by miał obok siebie przy stole bez wiedzy sąsiadów. Pieścił ją, grzał się o nią; czuł jakby jakąś omdłałość, poddawał się lekkiemu, dotąd nieznanemu drżeniu, które lechtało jego kark i nos, kiedy równocześnie przyszpilał do klapy fraka kwiat tuberozy. Czując się cierpiący i smutny od jakiegoś czasu — zwłaszcza od czasu, gdy Odeta wprowadziła Forcheville'a do Verdurinów — Swann

byłby rad wypocząć trochę na wsi. Ale kiedy Odeta była w Paryżu, nie miałby siły opuścić miasta ani na jeden dzień. Czas był ciepły, były to najpiękniejsze dni wiosny. I kiedy Swann przebywał kamienne miasto, spiesząc do jakiegoś zamkniętego pałacu, wciąż miał przed oczami swój park w pobliżu Combray, gdzie, nie dochodząc do grządek szparagów, dzięki wiatrowi od Méséglise, można było, poczawszy od czwartej, kosztować w altance tyleż chłodu co nad brzegiem stawu okolonego gladiolusami i niezapominajkami, i gdzie, kiedy jadł obiad, stroiły stół porzeczeki i róże splecione ręką ogrodnika.

Po obiedzie, jeśli spotkanie w Lasku lub w Saint-Cloud wypadło wcześniej, Swann, ledwie wstawszy od stołu, opuszczał towarzystwo tak nagle — zwłaszcza jeżeli deszcz groził tym, iż „wierni” wcześniej się rozejdą — że raz księżna des Laumes (jadła się u niej późno i Swann pożegnał się przed kawą, aby spieszyć do Verdurinów) rzekła:

— Doprawdy, gdyby Swann miał o trzydzieści lat więcej i chorobę pęcherza, można by mu darować, że tak pomyka. Ale, bądź co bądź, on sobie z nami robi za mało ceremonii!

Swann powiadał sobie, że ten urok wiosny, którego nie mógł kosztować w Combray, znajdzie bodaj na wyspie Łabędziej lub w Saint-Cloud. Że jednak mógł myśleć jedynie o Odecie, sam nie wiedział nawet, czy czuje zapach liści i czy jest księżyc. Przyjmowano go frazą sonaty wykonaną w ogrodzie na pianinie restauracyjnym. O ile nie było tam pianina, Verdurinowie nie żalowali trudu, aby je ściągnąć z jakiegoś pokoju albo z sali jadalnej; co nie znaczy, aby Swann odzyskał ich łaski; przeciwnie. Ale myśl zorganizowania jakiejś pomysłowej przyjemności nawet dla kogoś, kogo nie lubili, rodziła w nich przez chwilę przygotowań przelotne i okolicznościowe uczucia sympatii i serdeczności.

Czasami Swann powiadał sobie, że jeszcze jeden wieczór wiosenny mija; silił się zwracać uwagę na drzewa, na niebo. Ale wzruszenie, o jakie go przyprawiała obecność Odety, a także lekka gorączka, która nie opuszczała go od jakiegoś czasu, pozbawiała go swobody i spokoju, będących nieodzownym tłem dla wrażeń przyrody.

Pewnego wieczora, będąc na obiedzie u Verdurinów, Swann powiedział przy stole, że jutro ma jakiś koleżeński bankiet. Na co Odeta odrzekła mu przez stół, przy Forcheville'u, który należał obecnie do wiernych, przy malarzu, przy doktorze Cottard:

— Tak, wiem, że pan ma swój bankiet; zatem zobaczę pana dopiero u siebie, ale niech pan nie przychodzi za późno.

Mimo że Swann nigdy dotąd poważnie nie zaniepokoił się sympatią Odety do któregoś z wiernych, odczuł głębokie szczęście, słysząc, jak ona odsłania w ten sposób, wobec wszystkich, ze spokojnym bezwstydem ich cowieczorne spotkania i jego uprzywilejowaną sytuację w jej sercu. Niewątpliwie Swann uświadamiał sobie często, że Odeta nie jest pod żadnym względem kobietą niezwykłą; a przewaga, jaką posiadał nad istotą o tyle odeń niższą, nie miała w sobie nic, co by mogło czynić tak pochlebny publiczne uznanie jego praw. Ale od czasu jak spostrzegł, iż wielu mężczyznom Odeta wydaje się czarująca i pożądana, działanie jej urody na innych obudziło w Swannie bolesną potrzebę opanowania kochanki całkowicie, w najdrobniejszych cząsteczkach jej serca. I zaczął przywiązywać nieźrównaną cenę do owych chwil spędzanych u Odety, kiedy ją sobie sadzał na kolanach, każąc jej paplać, co myśli o tym i owym, kiedy robił bilans jedyńskich dóbr, na których posiadaniu zależało mu obecnie na ziemi. Toteż po tym obiedzie, wzięwszy Odetę na bok, nie omieszkął podziękować jej gorąco, starając się ją obznać przez dawkowanie swojej wdzięczności ze skalą rozkoszy, jakie mu mogła sprawić. A najwyższą z nich było ubezpieczenie go od grotów zazdrości na czas, przez który jego miłość miała trwać i czynić go dla nich dostępnym.

Kiedy nazajutrz Swann opuścił bankiet, lało jak z cebra. Miał do rozporządzenia jedynie swój otwarty powóz. Przyjaciel ofiarował się odwieźć go do domu kareta, że zaś Odeta, prosząc go, aby przyszedł, dała mu tym samym pewność, że nie oczekuje nikogo, Swann byłby chętnie, ze spokojną myślą, z zadowolonym sercem wrócił do siebie położyć się zamiast wędrować w deszcz. Ale pomyślał, że gdyby Odeta ujrzała, iż jemu widocznie nie zależy na spędzeniu z nią zawsze, bez wyjątku końca wieczoru, nie zachowałaby mu może tej godziny właśnie w dniu, kiedy on byłby jej szczególnie spragniony.

Zjawił się po jedenastej, tłumacząc się, że nie mógł wyjść wcześniej. Odeta skarżyła się, że w istocie jest bardzo późno; burza musiała jej rozstroić nerwy, boli ją głowa, uprzedza, że nie da mu siedzieć dłużej niż pół godziny, że go o dwunastej wyprawi. W chwilę potem uczuła się zmęczona i chciała iść spać.

— Więc nie będzie katlei dziś wieczór? — rzekł Swann — A ja się spodziewałem dobrej, miłej katlei.

Nerwowa, nieco nadąsana, odparła:

— Nie, kochanie, żadnych katlei dzisiaj; widzisz, że jestem cierpiąca.

— To by ci może dobrze zrobiło, ale nie nalegam.

Poprosiła, aby zgasił światło przed wyjściem; sam zasunął firanki przy łóżku i odjechał. Ale kiedy się znalazł w domu, przyszła mu nagle myśl, że może Odeta oczekiwała kogoś tego wieczora, że udawała tylko zmęczenie i że prosiła, aby zgasił światło jedynie po to, aby udać, iż będzie spała; ale że natychmiast po jego odejściu zaświeciła z powrotem i wpuściła tego, kto z nią miał spędzić noc. Swann popatrzył na zegarek; upłynęło mniej więcej półtorej godziny od czasu, jak się rozstali. Wyszedł, wziął fiakra i kazał stanąć w pobliżu willi Odety w uliczce prostopadłej do tej, która przylegała do tyłów domu. Czasem zachodził tamtędy, aby pukać do okna sypialni. Wysiadł z dorożki; wszystko było czarne i puste dokoła; w kilka kroków znalazł się prawie pod jej oknem. W ciemności wszystkich okien zgaszonych od dawna ujrzał jedno, z którego sączyło się światło przez okiennice, wyciskające jego tajemniczy i złocisty miąższ. Przez tyle innych wieczorów, kiedy Swann już z daleka, wchodząc w ulicę, spostrzegł to światło, cieszyło go ono i zwiastowało mu: „ona tam jest i czeka na ciebie”. Ale teraz dręczyło go, powiadając; „ona tam jest z tym, którego oczekiwała”. Chciał wiedzieć z kim; podsunął się wzdłuż muru aż do okna, ale przez skośne listewki okiennic nie mógł nic dojrzeć; słyszał jedynie w ciszy nocnej szmer rozmowy. Och, jakże cierpiał, widząc to światło, w którego złotej aurze poruszała się za oknem niewidzialna i nienawistna para; cierpiał, słysząc szmer zdradzający obecność intruza i fałsz Odety, i szczęście, którego właśnie kosztowała z tamtym.

Mimo to Swann był rad, że przyszedł. Cierpienie, które go wyгнаło z domu, tracąc swoją nieuchwytność, straciło ostrość. Owo inne życie Odety, którego miał w tej chwili nagle i bezsilne podejrzenie, było tu, w jego ręku, jasno oświetlone lampą, uwięzione bez jej wiedzy w tym pokoju, dokąd — gdyby chciał — mógłby wejść, aby ją zaskoczyć i nakryć. Nie, raczej zapuka w okiennicę, tak jak robił często, kiedy przychodził późno w nocy; w ten sposób Odeta dowie się bodaj, że on wie, że widział światło i słyszał rozmowę. I on, który przed chwilą wyobrażał sobie Odetę śmiejącą się z owym drugim z łatwowierności jego, Swanna, teraz widział ich tonących w złudzeniu bezpieczeństwa, a w istocie oszukanych przez niego. Myśla, że on jest daleko, a on już wie, że zapuka w okiennicę. I może to, co odczuwał w tej chwili niemal z przyjemnością, było zarazem czymś innym niż uśmierzeniem podejrzeń i bólu: to była rozkosz intelektualna. Od czasu jak Swann był zakochany, rzeczy odzyskały dlań nieco rozkosznego bogactwa, jakie w nich znajdował niegdyś, ale tylko o tyle, o ile je oświetlało wspomnienie Odety. Obecnie zazdrość jego wskrzeszała inną zdolność jego pracowitej młodości; namiętność prawdy, ale prawdy również wsuniętej między niego a jego kochankę, czerpiącej światło tylko z niej, prawdy całkowicie indywidualnej, mającej za przedmiot — przedmiot jedyny, bezcenny, niemal bezinteresownie piękny — postęпки Odety, jej stosunki, projekty, jej przeszłość. W każdej innej epoce swego życia Swann uważał drobne uczynki i codzienne gesty jakiejś osoby za coś bez znaczenia; jeżeli mu opowiadano o nich, wydawały mu się obojętne; o ile słuchał tych plotek, interesowała się nimi wyłącznie jego najpospolitsza ciekawość; były to dlań chwile, w których się czuł najlichszym. Ale w tym dziwnym okresie miłości życie indywidualne nabiera osobliwej głębi. Budząca się w Swannie ciekawość najdrobniejszych zajęć kobiety to była ta sama ciekawość, jaką niegdyś odczuwał studiując historię. I wszystko to, czego byłby się wstydził dotąd — iść szpiegować pod oknem, jutro może — kto wie! — ciągnąć zręcznie za język obojętnych, przekupywać służbę, słuchać pod drzwiami — zdawało mu się tym samym co odczytywanie tekstów, zestawianie świadectw i interpretacja dokumentów; metodą badań naukowych niepozbawioną rzetelnej wartości intelektualnej, właściwą dla szukania prawdy.

W chwili gdy miał zapukać w okiennicę, uczuł na chwilę wstyd na myśl, iż Odeta dowie się, że on ją podejrzewał, że wrócił, że czatował na ulicy. Mówiła mu często, jak się brzydzi zazdrośnikami, kochankami, którzy szpiegują. To, co miał zrobić, było bardzo niezręczne; Odeta znenawidzi go, podczas gdy w tej chwili jeszcze, dopóki nie zapukał, może, nawet zdradzając, kocha go jeszcze. Ileż możliwego szczęścia poświęca się w ten sposób pasji bezpośredniego ukojenia! Ale żądza prawdy była mocniejsza i —

Zazdrość, Miłość

tak mniemał Swann — szlachetniejsza. Wiedział, że realność faktów, za których ściśle odtworzenie oddałby życie, była czytelna za tymi smugami światła, niby pod wyłączonej okładką szacownego rękopisu, na którego artystyczne bogactwa nawet uczony badacz nie może pozostać nieczuły. Odczuwał rozkosz poznania prawdy, która go pasjonowała w tym jednym, znikomym i cennym egzemplarzu uczynionym z substancji świetlnej, tak gorącej i pięknej. A przy tym przewaga nad nimi dwojgiem, którą czuł — którą tak potrzebował czuć — tkwiła nie tyle w tym, aby wiedzieć, ile w tym, aby móc pokazać, że wie. Wspiął się na palce. Zapukał. Nie usłyszano; zapukał mocniej; rozmowa urwała się. Męski głos, w którym Swann silił się rozpoznać kogoś ze znajomych mu przyjaciół Odety, spytał:

— Kto tam?

Swann nie był pewny, czy poznaje ten głos. Zapukał jeszcze raz. Ktoś otworzył okno, potem okiennice. Teraz nie było już sposobu się cofnąć. Skoro Odeta miała wszystko wiedzieć, tedy aby się nie wydać zbyt nieszczęśliwym, zbyt zazdrosnym i ciekawym, Swann poprzestał na tym, że krzyknął swobodnie i wesoło:

— Nie deranżuj się, przechodziłem tędy, spostrzegłem światło i chciałem zajrzeć, czy już cię głowa nie boli.

Popatrzył. Stali przed nim w oknie dwaj starsi panowie, jeden z nich trzymał lampę. Swann ujrzał pokój całkowicie nieznaną. Mając zwyczaj, kiedy przychodził do Odety bardzo późno, poznawać jej okno po tym, że to jedno było oświetlone, Swann pomylił się i zapukał do sąsiedniego okna w domu obok. Oddalił się, przepaszając i wrócił do siebie szczęśliwy, że zadowolenie ciekawości zostawiło ich miłość nietkniętą i że po tak długim maskowaniu się wobec Odety zazdrością swoją nie dostarczył jej dowodu, iż kocha ją za bardzo; który to dowód między dwojgiem kochanków zwalnia drugą stronę na zawsze od kochania dosyć. Nie wspomniał Odecie o *qui pro quo*, sam już o nim nie myślał. Ale chwilami jakiś odruch jego myśli natykał się bezwiednie na owo wspomnienie; potraçał je, wtlaczał je głębiej i Swann odczuwał nagły i głęboki ból. Bólu tego — tak jakby to był ból fizyczny — myśl Swanna nie mogła zmniejszyć; ale na bólu fizycznym — dlatego właśnie, że jest niezależny od myśli — myśl może bodaj skupić się, stwierdzić, że się zmniejszył, że nagle ustał. Tutaj myśl odnawiała ten ból samym faktem przypominania go sobie. Chcieć o nim nie myśleć jeszcze znaczyło myśleć o nim, cierpieć od niego. I kiedy, rozmawiając z przyjaciółmi, Swann zapominał o swoim cierpieniu, nagle jakieś słowo sprawiało, że mienił się na twarzy niby ranny, którego urazi ktoś niezręczny w czułe miejsce. Kiedy opuszczał Odetę, był szczęśliwy, czuł się spokojny, przypominał sobie jej uśmiech, drwiący, kiedy mówiła o kimś innym, a tkliwy dla niego; czuł ciężar jej głowy, gdy ją skłania, upuszcza jakby mimo woli na jego wargi, jak wówczas pierwszy raz w powozie; widział omdlewające spojrzenie, jakie miała w jego objęciach, kiedy wtulała w jego ramię pochyloną głowę.

Ale natychmiast zazdrość — jak gdyby była cieniem jego miłości — zasycala się dubletem owego nowego uśmiechu, którym Odeta obdarzyła go tegoż wieczora, a który teraz, wręcz przeciwnie, urągał Swannowi i nabrzmiewał miłością do innego. Widział to pochylenie głowy, ale skierowane ku innym ustom; wszystkie oznaki czułości, jakie miała dla niego, zwracały się ku innemu. I wszystkie rozkoszne wspomnienia, jakie czerpał z Odety, były niby tyleż szkiców, „makietek” (w rodzaju tych, jakie nam przedkłada dekorator) pozwalających Swannowi stworzyć sobie pojęcie o namiętnych lub lubieżnych pozach, jakie Odeta może mieć z innymi. Tak iż w końcu żałował każdej kosztowanej z nią rozkoszy, każdej wynalezionej przez nich pieszczoty, której słodczyz uświadomił jej niebacznie; każdego wdzięku, jaki w niej odkrył — bo wiedział, że w chwilę potem miały one wzbogacić nowymi narzędziami jego mękę.

Męka ta stawiała się jeszcze okrutniejsza wówczas, gdy Swannowi wracała pamięć przelotnego spojrzenia, jakie przed kilku dniami pochwycił — pierwszy raz — w oczach Odety. Było to po obiedzie u Verdurinów. Czy Forcheville, czując, iż szwagier jego Saniette nie jest u nich w łaskach, chciał go wziąć za cel żarcików i zablysnąć jego kosztem; czy że go podrażniło jakieś niezręczne a niewinne słówko niezauważone zresztą przez obecnych, niezdolnych pochwycić mniemanej a niezamierzonej aluzji; czy wreszcie Forcheville szukał od jakiegoś czasu sposobności pozbycia się z domu człowieka, który go znał za dobrze i który krępował go samą obecnością, właśnie dlatego, że Forcheville znał jego delikat-

ność — dość, że odpowiedział na jakieś niezręczne odezwanie się Saniette'a niesłuchanie brutalnie. Wprost zaczął lżyć Saniette'a, podnosząc głos, rozzuchwalony jego przestracchem, bólem, błaganiami. Wreszcie nieszczęśliwy Saniette, spytawszy pani Verdurin, czy ma zostać i nie otrzymawszy odpowiedzi, wyszedł bąkając coś, że łzami w oczach. Odeta patrzyła obojętnie na tę scenę; ale kiedy się drzwi zamknęły za Saniettem, wówczas obniżając niejako o kilka stopni swój zwykły wyraz twarzy po to, aby się móc spotkać z Forchevillem na równym poziomie nikczemności, rozjaśniła twarz chytrym uśmiechem pełnym uznania dla jego energii, a ironii dla ofiary. Rzuciła Forcheville'owi spojrzenie współniczki w złym, spojrzenie, które wyraźnie mówiło: „Nie ma co, wspaniała egzekucja! Widział pan jego zrozpaczoną minę, można było myśleć, że się rozplacze!”. Aż Forcheville, kiedy jego oczy spotkały to spojrzenie, otrzeźwiawszy nagle z prawdziwego lub udanego gniewu, od którego był jeszcze ciepły, uśmiechnął się i odpowiedział:

— Czemu nie był grzeczny, siedziałby jeszcze tutaj. Dobra lekcja przyda się w każdym wieku.

Pewnego dnia Swann, wyszedłszy popołudniu z wizytami i nie zastawszy kogoś, wpadł na myśl, aby wstąpić do Odety w porze, w której nigdy do niej nie zachodził, ale w której zawsze bywała w domu. Zwykle o tej godzinie robiła sjęstę albo pisała listy przed herbatą; mógłby tedy ujrzeć na chwilę Odetę, nie przeszkadzając jej. Odźwierny objaśnił, że, o ile mu się zdaje, pani jest u siebie; Swann zadzwonił: zdawało mu się, że słyszy hałas, kroki, ale nikt nie otworzył. Niespokojny, podrażniony, skierował się w uliczkę, na którą wychodził drugi front willi. Przystanął pod sypialnią Odety; przez firanki nie było nic widać. Zapukał silnie w szybę, zawołał: nikt nie otworzył. Ujrzał, że sąsiedzi patrzą na niego. Odszedł, myśląc, że ostatecznie może mu się tylko zdawało, iż słyszy kroki; ale fakt ten poruszył go tak, że niezdolny był myśleć o niczym innym. W godzinę później wrócił. Zastał Odetę; powiedziała mu, że była w domu wówczas, kiedy dzwonił, ale spała; dzwonek obudził ją, zgadła, że to był Swann, pobiegła za nim, ale już odszedł. Słyszała, że ktoś pukał w szybę.

Swann poznał w tym opowiadaniu jeden z owych fragmentów autentycznego faktu, którymi kłamcy, zaskoczeni, ratują się, wprowadzając prawdziwy szczegół w system zmyślonych przez siebie okoliczności i sądząc, że w ten sposób zdołają użyczyć całosci znamienia Prawdy. Niewątpliwie, kiedy Odeta zrobiła coś, do czego nie chciała się przyznać, ukrywała to starannie. Ale kiedy się znalazła w obecności osoby, przed którą chciała skłamać, ogarniało ją zmieszanie, wszystkie jej myśli mąciły się, inwencja jej i zdolność rozumowania były jak sparaliżowane. Czuła w głowie pustkę; trzeba było coś powiedzieć; wówczas znajdowała pod ręką właśnie to, co chciała ukryć i co, będąc prawdą, samo zostało na placu. Oddzielała z tego mały kawałek, sam przez się bez znaczenia, powiadając sobie, że tak będzie lepiej i że prawdziwy szczegół nie nastęrcza tych niebezpieczeństw co fałszywy.

„To przynajmniej jest prawda — mówiła sobie — to jest pewne. Może się dowiadywać, przekona się, że to była prawda; to mnie w każdym razie nie zdradzi”.

Myliła się: właśnie to ją zdradzało! Nie zdawała sobie sprawy, że ten prawdziwy szczegół ma kanty przystające jedynie do odpowiednich zażeń prawdziwego faktu, z którego go samowolnie wyrwała. Jakiegokolwiek byłyby zmyślone szczegóły, między które Odeta wstawiła ów fakt, wystające kontury i niewypełnione luki zdradziłyby zawsze, że jedno nie pasuje do drugiego.

„Przyznaje, że słyszała jak dzwoniłem, jak potem pukałem; domyśliła się, że to byłem ja, miała ochotę mnie widzieć — powiadał sobie Swann. — To się nie zgadza z faktem, że nie kazała otworzyć”.

Ale nie zwrócił Odecie uwagi na tę sprzeczność. Przypuszczał, iż zostawiona samej sobie strzeli może jakimś kłamstwem, które wskaże bodaj wąty ślad prawdy. Mówiła dalej; nie przerywał, z chciwym i bolesnym pietyzmem zbierał jej słowa. Czuł — właśnie dlatego, że ona kryła tę prawdę poza słowami — że rysują one mglisto, niby święta zasłona, niepewny kształt bezcennej i niepochwytej rzeczywistości: co Odeta robiła dziś o trzeciej, kiedy Swann przyszedł. To była owa rzeczywistość, z której on będzie zawsze posiadał jedynie te kłamstwa, nieczytelne i boskie jej ślady — rzeczywistość istniejąca już tylko w skrytym wspomnieniu istoty, która patrzyła na nią, nie umiając jej ocenić, ale która mu jej z pewnością nie wyda.



Zapewne Swann rozumiał chwilami, że same przez się codzienne czynności Odety nie są zbyt interesujące i że możebe jej stosunki z innymi mężczyznami nie dla każdej myślącej istoty wydzielają w naturalny sposób ów chorobliwy smutek, zdolny wzniesić gorączkę samobójstwa. Zdawał sobie sprawę wówczas, że ta namiętna ciekawość, że ten smutek są w nim jedynie rodzajem choroby; kiedy się z tej choroby wyleczy, postęпки Odety, pocałunki może przez nią rozdawane, staną się znów obojętne jak pocałunki i postęпки tylu innych kobiet. Ale świadomość, że jego bolesna ciekawość ma źródło tylko w nim samym, nie zmniejszała nasilenia tej ciekawości i nie nakazywała mu poniechać czegokolwiek, co by ją mogło zaspokoić. Swann miał filozofię swoich lat, będącą po trosze i filozofią epoki, a także kółka, w którym się długo obracał. W koterii księżnej des Laumes człowiek uchodził za inteligentnego w tej mierze, w jakiej wątpił o wszystkim, uważając za rzecz realną i bezsporną gusty każdego. To nie jest już filozofia młodości, ale pozytywna, lekarska niemal filozofia ludzi, którzy zamiast obiektywizować sobie przedmioty własnych pragnień, próbują ze swoich minionych już lat wydobyć osad przyzwyczajień i namiętności; i uznawszy je za znamienne dla siebie i trwale, świadomie czuwają, aby ich tryb życia tym właśnie przyzwyczajeniom i namiętnościom mógł czynić zadość. Swann uznał za rozsądne uwzględnić element cierpienia, jaki mu sprawiała niewiedza tego, co może robić Odeta, tak jak uwzględniał wpływ wilgoci na swoją egzemę. Uznał w swoim budzecie poważne pozycje na to, aby zdobyć o Odecie informacje, bez których czułby się nieszczęśliwy, tak jak przeznaczał odpowiednie kwoty na inne swoje upodobania, po których mógł się spodziewać przyjemności — przynajmniej zanim był zakochany — jak na przykład kolekcjonerstwo i dobra kuchnia.

Kiedy Swann chciał pożegnać Odetę, aby wrócić do siebie, prosiła, żeby został jeszcze; zatrzymała go nawet dość żywo, ujmując go za ramię w chwili, gdy już otwierał drzwi. Nie zwrócił na to uwagi; w mnogości gestów, słów, drobnych epizodów rozmowy, łatwo przechodzimy niebacznie obok faktów ukrywających prawdę, której nasze podejrzenia szukają na oślep, a przeciwnie zatrzymujemy się przy tych, poza którymi nie ma nic. Odeta powtarzała cały czas:

— To fatalne! Nigdy nie przychodzisz popołudniu i kiedy raz ci się zdarzyło, takie nieporozumienie!

Swann wiedział, że Odeta nie jest w nim na tyle zakochana, aby miała tak bardzo żałować, że ją minęła jego wizyta; że jednak była dobra, lubiąca mu wygodzić i często smutna, kiedy mu sprawiała przykrość, wydało się Swannowi zupełnie naturalne, że jest markotna, iż pozbawiła go przyjemności spędzenia godziny razem — przyjemności wielkiej nie dla niej, ale dla niego. Ostatecznie jednak była to rzecz dość błaha, tak iż bolesny wyraz nieustępujący z twarzy Odety zdziwił go w końcu. Bardziej jeszcze niż zazwyczaj przypominała mu kobiece postaci twórcy *Primavery*. Miała w tej chwili ich zgnębiałą i umęczoną twarz, jak gdyby uginającą się pod brzemieniem zbyt ciężkiej dla nich boleści, kiedy po prostu pozwalają dzieciątku Jezus bawić się owocem granatu lub patrzają, jak Mojżesz nalewa wody do wiadra. Widział u niej już raz taki smutek, ale nie pamiętał kiedy. I nagle przypomniał sobie: to było wtedy, kiedy Odeta skłamała przed panią Verdurin, nazajutrz po obiedzie, na który nie przyszła pod pozorem, że była chora, a naprawdę żeby zostać ze Swannem. Z pewnością, choćby była najskrupulatniejszą z kobiet, nie mogłaby mieć wyrzutów z powodu równie niewinnego kłamstwa. Ale kłamstwa, których codziennie dopuszczała się Odeta, były mniej niewinne i miały zapobiec odkryciom zdolnym zapędzić ją w straszliwie ciężkie sytuacje. Toteż kłamiąc, Odeta wystraszona, czując słabość swojej obrony, niepewna sukcesu, miała ochotę płakać ze zmęczenia jak czasem dzieci z niewyspania. Wiedziała zarazem, że jej kłamstwo poważnie zazwyczaj obraża mężczyznę, któremu kłamie i na którego lasce może się znaleźć, o ile skłamię źle. Czuli się wobec tego człowieka zarazem pokorna i winna. I kiedy miała popełnić kłamstwo nieznazące, towarzyskie, wówczas przez skojarzenie wrażeń i wspomnień doznawała uczucia przemęczenia, żalu i wyrzutu.

Jakież przynębiające kłamstwo popełniała w tej chwili wobec Swanna, że miała to bolesne spojrzenie, ten żalony głos, jak gdyby uginające się pod nałożonym sobie wysiłkiem i błagające zmiłowania? Swann odczuł, że Odeta sili się ukryć przed nim nie tylko prawdę tyzącą popołudniowego epizodu, ale coś aktualniejszego, może jeszcze nieziszczanego, a bardzo bliskiego; coś co mu mogło rozświetlić tamtą prawdę. W tej chwili

usłyszał dzwonek. Odeta nie przestała mówić, ale słowa jej były już ledwo jękiem; jej żal, że nie widziała Swanna popołudniu, że mu nie otworzyła, przeszedł w prawdziwą rozpacz.

Rozległ się trzask bramy i turkot powozu, jak gdyby ktoś odjeżdżał — prawdopodobnie ten, którego Swann nie powinien był spotkać i któremu powiedziano, że Odeta wyszła. Wówczas na myśl, że zjawiając się po prostu o godzinie innej niż zwykle, zakłócił tyle rzeczy, które Odeta chciała przed nim ukryć, Swann doznał uczucia zniechęcenia, niemal rozpacz. Że jednak kochał Odetę i miał zwyczaj zwracać ku niej wszystkie myśli, litość jego dla siebie samego zmieniła się w litość dla niej; szepnął: „Biedne maleństwo!”. Kiedy się żegnał, Odeta wzięła ze stołu kilka listów i spytała, czy by ich nie mógł wrzucić. Wziął listy, ale znalazłszy się w domu, spostrzegł, że je ma przy sobie. Wrócił na pocztę, wyjął listy z kieszeni i zanim je rzucił do skrzynki, spojrzął na adresy. Były wszystkie do magazynów, z wyjątkiem jednego, do pana de Forcheville. Swann trzymał ten list w ręce. Powiadał sobie: „Gdybym zajrzał do środka, dowiedziałbym się, jak ona go nazywa, jak mówi do niego, czy jest coś między nimi. Nie otworzyć tego listu byłoby może krzywdą dla Odety, bo to jest sposób uwolnienia się od podejrzeń — może oszczerczych — które w każdym razie będą musiały zadać jej ból, a których nic nie zdoła zniweczyć, skoro raz wrzucę ten list do skrzynki”.

Wrócił do domu, zatrzymawszy list. Zapalił świecę i zbliżył do niej kopertę, której nie śmiał otworzyć. Najpierw nie mógł nic przeczytać; ale koperta była cienka; przyciskając ją do twardej karty znajdującej się wewnątrz, mógł przez przeświecający papier odczytać ostatnie słowa. Była to końcowa formuła, bardzo chłodna. Gdyby zamiast Swanna podglądającego list do Forcheville’a, Forcheville miał czytać list przeznaczony dla Swanna, mógłby tam znaleźć słowa o ileż tkliwsze! Swann trzymał nieruchomo bilet poruszający się w za dużej kopercie; potem przesuwając ją wielkim palcem, ściągnął kolejno rozmaite wiersze na tę część koperty, która nie miała bibułki, jedyną, przez którą można było czytać.

Mimo to nie widział dobrze. Zresztą to nie miało znaczenia; widział dosyć, aby sobie zdać sprawę, że chodzi o błahy epizod, niemający nic wspólnego ze stosunkiem miłosnym. Była tam mowa o jakimś wuju Odety. Swann wyczytał wprawdzie na początku wiersza: „Miałam rację”, ale nie rozumiał, co Odeta miała rację uczynić, kiedy nagle słowo, którego nie mógł odcyfrować zrazu, ukazało mu się i oświeciło sens całego zdania: „Miałam rację, żem otwarła, to był wuj”. Otwarła! Zatem Forcheville był tam, kiedy Swann zadzwonił i Odeta wyprawiała go; stąd ów turkot.

Wówczas przeczytał cały list. Z końcem listu Odeta usprawiedliwiała się, że postąpiła sobie z Forchevillem tak bez ceremonii; wspominała, że zapomniał u niej papierośnicy: to samo zdanie, które napisała do Swanna po jednej z pierwszych jego wizyt. Ale w bileciku do Swanna dodała wówczas: „gdybyś pan był zostawił swoje serce, nie pozwoliłabym go panu odebrać”. W liście do Forcheville’a nic podobnego; żadnej aluzji, która by pozwoliła się domyślać czegoś między nimi. Prawdę mówiąc, Forcheville był tu bardziej oszukany z nich obu, skoro Odeta pisała po to, aby w niego wmówić, że niespodziany gość jest jej wujem. W sumie to on, Swann, był osobą, do której Odeta przywiązuje wagę i dla której wyprawiała tamtego. A jednak, jeżeli nic nie było między Odetą a Forchevillem, czemu nie otworzyła od razu, czemu pisze: Dobrze zrobiłam, żem otwarła, to był wuj? Jeżeli nic nie robiła złego w owej chwili, jak Forcheville zdołałby sobie nawet wytłumaczyć to, że mogła nie otworzyć? I Swann siedział tak, zrozpaczony, zawstydzony, a mimo to szczęśliwy, nad kopertą, którą Odeta powierzyła mu bez obawy, tak ufała jego dyskrecji; ale poprzez przeźroczystą szybę tej koperty, wraz z sekretem zdarzenia, którego nie miał nigdy poznać, odsłaniało mu się trochę życia Odety niby wąski pas świetlny wycięty w Nieznanym. Zarazem zazdrość jego cieszyła się tym, jak gdyby ta zazdrość miała swoją żywotność niezależną, samolubną, łakomą wszystkiego, co by jej było pokarmem, choćby kosztem jego samego. Obecnie miała pożywkę i Swann mógł zacząć każdego dnia niepokoić się o wizyty przyjmowane przez Odetę około piątej, starać się dowiedzieć, gdzie Forcheville był o tej godzinie. Bo czułość Swanna zachowywała nadal ten sam charakter, który jej dały zrazu i jego nieświadomość życia Odety, i lenistwo mózgu, niepozwalające mu uzupełnić niewiedzy wyobraźnią. Nie był zrazu zazdrosny o całe jej życie; jedynie o chwile, w których jakaś okoliczność, może źle tłumaczona, nasunęła mu przypuszczenie możliwej zdrady. Zazdrość jego jak ośmiornica, która wypuszcza pierwszą, drugą,

potem trzecią mackę, uczepiła się trwale owej piątej popołudniu, potem innego momentu, potem jeszcze innego. Ale Swann nie umiał wymyślać swoich cierpień; były jedynie wspomnieniem, utrwaleniem cierpienia, które mu przyszło z zewnątrz.

Przynosiło mu je wszystko. Chciał oddalić Odetę od Forcheville'a, zabrać ją na kilka dni na południe. Ale był przeświadczony, że wszyscy mężczyźni w hotelu pożądamy jej i że Odeta ich pożąda. Toteż on, który zwykle w podróży poszukiwał nowych ludzi, licznych zebrań, stał się dziki, unikał świata, tak jakby go świat okrutnie czymś zranił. I jak nie miał być mizantropem, kiedy w każdym mężczyźnie widział możebnego kochanka Odety? Tak zazdrość zmieniła charakter Swanna, bardziej jeszcze niż to uczyniła pierwotna jego zmysłowa i uśmiechnięta sympatia do Odety; i zmieniała najzupełniej w oczach ludzi nawet zewnętrzne cechy jego charakteru.

W miesiąc po dniu, w którym odcyfrował ów list Odety do Forcheville'a, Swann udał się na obiad, który Verdurinowie organizowali w Lasku. Po obiedzie, w chwili odjazdu zauważył narady między panią Verdurin a paroma gośćmi; zdawało mu się, że pani Verdurin przypomina pianiście, aby się stawił jutro na wycieczkę do Chatou; otóż jego, Swanna, nie zaproszono.

Verdurinowie mówili półgłosem i ogólnikowo; ale malarz, zapewne przez roztargnienie, wykrzyknął:

— Nie będziemy palili światła; niech gra Sonatę księżycową w ciemności, żebyśmy lepiej widzieli, jak się wszystko rozświetla.

Pani Verdurin, widząc że Swann jest o dwa kroki, przybrała ów wyraz, w którym nakaz milczenia oraz chęć zachowania niewinnej miny wobec osoby, która słyszy, neutralizują się w skupionej obojętności wzroku, maskując nieme oznaki współnictwa uśmiechem naiwności. Wyraz ów, wspólny wszystkim, którzy spostrzegą „gaffę”, zdradza natychmiast tę gaffę, jeżeli nie temu, kto ją popełnił, to przynajmniej temu, kto jest jej przedmiotem. Odeta przybrała nagle wyraz osoby zrozpaczonej, która nie ma sił walczyć przeciw miazdzącym trudnościom życia, a Swann liczył trwożnie minuty dzielące go od chwili, gdy opuściwszy restaurację, będzie mógł w czasie wspólnego powrotu prosić jej o wyjaśnienia, wymóc, aby nie jechała jutro do Chatou lub postarała się o zaproszenie dla niego; gdy wreszcie będzie mógł ukoić w jej ramionach dręczący go niepokój. W końcu zawołano o powozy.

— Zatem do widzenia, niezadługo, prawda? — rzekła pani Verdurin do Swanna; starając się uprzejmym spojrzeniem i wymuszonym uśmiechem odwrócić jego uwagę od tego, że nie mówi mu jak zawsze: „Jutro w Chatou, pojutrze u nas”.

Państwo Verdurin pomieścili z sobą Forcheville'a; Swann czekał na ich odjazd, aby zaprosić Odetę do swego powozu.

— Odeto, odwieziemy cię — rzekła pani Verdurin — masz kawałeczek miejsca koło pana de Forcheville.

— Tak, proszę pani — rzekła Odeta.

— Jak to, ależ ja myślałem, że ja panią odwiozę — wykrzyknął Swann bez żadnych ceremonii, bo drzwiczki były otwarte, sekundy policzone, a on nie czuł się na siłach, aby wrócić bez Odety.

— Pani Verdurin prosiła mnie...

— No, może pan wrócić sam, zastawialiśmy ją panu dosyć razy — rzekła pani Verdurin.

— Ale ja miałem pani Odecie powiedzieć coś bardzo ważnego.

— No to jej pan napisze...

— Do widzenia — rzekła Odeta, podając mu rękę.

Starał się uśmiechnąć, ale miał wyraz przybity.

— Czy widziałeś, co sobie teraz ten Swann z nami pozwala — rzekła pani Verdurin do męża, kiedy znaleźli się w domu. — Myślałam, że mnie pożre, dlatego żeśmy zabrali Odetę. Doprawdy, szczyt nieprzyzwoitości! To już lepiej niech powie po prostu, że my utrzymujemy dom schadzek. Nie rozumiem, jak Odeta może znosić podobne maniery. Zupełnie robi wrażenie, jakby mówił: „Należysz do mnie”. Powiem Odecie, co o tym myślę, mam nadzieję, że zrozumie.

I dodała jeszcze po chwili z gniewem: „Widzieliście coś podobnego, paskudne bydlę!”, bezwiednie — i może ulegając tej samej tajemniczej potrzebie usprawiedliwienia się, co

Franciszka w Combray, kiedy kurczę nie chciało umierać — używając słów wyrwanych przez ostatnie podrygi niewinnego, konającego zwierzęcia wieśniakowi, który je utrupia.

I kiedy powóz pani Verdurin ruszył, a powóz Swanna podjechał, stangret patrząc na swego pana spytał, czy nie jest chory albo czy mu się nie zdarzyło co złego.

Swann odesłał powóz, wołał iść pieszo; wrócił Laskiem. Mówił do siebie głośno, tym samym, nieco sztucznym tonem, jaki miewał dotąd, kiedy rozważał uroki „paczki” i wysławiał wielkoduszność Verdurinów. Ale, jak słowa, uśmiechy, pocałunki Odety, o ile zwracały się do innych, stawały mu się równie wstrętne jak wprzód były mu słodkie, tak samo salon Verdurinów, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się zabawny, oddychający szczerym kultem sztuki, a nawet niejaki wykwintem ducha, teraz, kiedy Odeta miała tam spotykać i kochać swobodnie innego, ukazywał mu swoje śmieszności, swoją głupotę, swoją sromotę.

Wyobrażał sobie ze wstrętem jutrzejszy wieczór w Chatou. „Przede wszystkim ten pomysł, żeby jechać do Chatou! Jak kramarze po zamknięciu sklepu! Doprawdy, ci ludzie, to po prostu sam ekstrakt mieszcuchostwa; oni chyba nie istnieją realnie, uciekli z jakiejś farsy Labiche’a!”

Będą tam Cottardowie, może Brichot. „Czy może być coś równie pocieszego, jak to życie małych ludków, którzy siedzą sobie na głowach, którzy myśleliby, dają słowo, że są zgubieni, gdyby się wszyscy nie spotkali jutro w Chatou! Niestety, będzie także i malarz, ten malarz, który lubi „kojarzyć stadła”; zaprosi Forcheville’a z Odetą do pracowni. Swann widział już Odetę w tualecie zbyt strojnej jak na tę wycieczkę, „bo ona jest taka pospolita, a zwłaszcza, biedna mała, jest tak straszliwie głupia!!!”.

Słyszał żarty, jakie pani Verdurin będzie robiła po obiedzie. Żarty te — kiedy celem ich bywał ktoś z „nudziarzy” — bawiły go zawsze, bo widział, jak się Odeta z nich śmieje; śmiała się z nim, prawie w nim. Teraz czuł, że to może jego kosztem będą bawili Odetę. „Co za plugawa wesołość!” — powiadał, krzywiąc się z tak gwałtownym wstrętem, że odczuł ten skurcz ust mięśniami karku wciśniętego w kołnierz koszuli. „I w jaki sposób człowiek mający w sobie coś ludzkiego może znajdować powód do śmiechu w tych żarcikach, od których zbiera się na wymioty? Ktoś bodaj trochę wybredny odwróciłby się ze wstrętem, zatkałby nos, aby nie znosić takich wyziewów. To doprawdy niepojęte, aby ludzka istota mogła nie rozumieć, iż pozwalając sobie na uśmiech kosztem bliźniego lojalnie do niej wyciągającego rękę, grzęźnie w błocie, skąd niepodobna już będzie mimo najlepszych chęci wydobyć jej! Żyję o wiele tysięcy metrów za wysoko ponad nizinami, gdzie babrzą się i ślinią takie plugawe języki, aby mnie mogły ochlapać żarty takiej Verdurin, — wykrzyknął podnosząc głowę i prostując się dumnie. — Bóg mi świadkiem, że szczerze chciałem wydobyć stamtąd Odetę, wznieść ją w szlachetniejszą i czystsza atmosferę. Ale cierpliwość ludzka ma swoje granice, a moja doszła kresu” — rzekł sobie, jak gdyby ta misja wyrwania Odety z atmosfery sarkazmów trwała dłużej niż od kilku minut i jak gdyby Swann nie powziął jej dopiero od chwili, kiedy myślał, że te sarkazmy będą może miały jego za cel i będą się starały oderwać Odetę od niego.

Widział pianistę gotującego się grać *Sonatę księżycową* i mimiki pani Verdurin wystraszonej cierpieniem, jakie muzyka Beethovena zadaje jej nerwom: „Idiotka, kłamczuch-baba! — wykrzyknął — i to myśli, że kocha Sztukę!”. Powie Odecie, wsunąwszy zręcznie parę komplementów dla Forcheville’a, jak to robiła tak często dla niego samego: „Zrobisz trochę miejsca koło siebie panu de Forcheville”. Po ciemku! makarela, rajfurka! Rajfurka, tę nazwę dawał Swann i muzyce, która każe im milczeć, marzyć razem, patrzeć na siebie, trzymać się za ręce. Przyznawał rację Platonowi, Bossuetowi oraz staremu francuskiemu wychowaniu w ich surowości dla sztuki.

W sumie życie, które pędzono u Verdurinów i które Swann tak często nazywał „prawdziwym życiem”, zdawało mu się najgorsze ze wszystkich, a „paczka” czymś ostatnim z ostatnich.

„To doprawdy — powiadał sobie — najniższy szczebel drabiny społecznej, ostatni krąg Danta. Nie ma wątplenia, że ów dostojny tekst odnosi się do Verdurinów! Ludzi z towarzystwa można krytykować, zapewne, ale bądź co bądź to jest coś innego niż ta banda makrotów. Jacyż oni są głęboko mądrzy, ludzie z prawdziwego świata, że nie chcą *takich* znać, że nie chcą sobie o nich powalać bodaj końca palców. Co za intuicja w tym *Noli me tangere* arystokracji!”

Swann od dawna już wyszedł z Lasku, zbliżał się do domu, jeszcze nie wytrzeźwiony z bólu i z nieszczerzej werwy, której kłamliwe akcenty i sztuczna dźwięczność wprawiały go w coraz to mocniejsze pijaństwo. Podniesionym głosem wciąż rozprawiał w ciszy nocnej:

„Światowcy mają swoje wady, nikt nie zna ich lepiej ode mnie; ale mimo wszystko to są ludzie, z którymi pewne rzeczy są niemożliwe. Niejedna elegancka kobieta spośród moich znajomych mogła być daleka od ideału, ale ostatecznie w każdej był zawsze jakiś pokład delikatności, jakaś lojalność, niezdolność do perfidii; samo to wystarczyłoby, aby wykopać przepaść między nimi a megerą taką jak ta Verdurin. Verdurin! Co za nazwisko! Och, można powiedzieć, że oni są kompletni, że są piękni w swoim rodzaju! Bogu dzięki, był czas, aby już przestać schodzić do tego bezceństwa, do tego plugastwa”.

Ale tak jak cnoty, które przypisywał jeszcze niedawno Verdurinom, nie byłyby zdolne — nawet gdyby je posiadali naprawdę, ale gdyby nie popierali jego miłości i nie szli jej na rękę — wywołać w Swannie owego rozczulenia nad ich wielkodusznością (które to rozczulenie nawet poprzez inne osoby mogło się w nim rodzić jedynie z Odety), tak samo ich obecna rzekoma niemoralność nie rozpętałaby oburzenia Swanna na Verdurinów, gdyby ci nie byli zaprosili Odety z Forchevillem, a bez niego. To było ich prawdziwe „bezceństwo”. I bez wątpienia głos Swanna był bardziej jasnovidzący niż on sam, gdy owe słowa pełne wstrętu do Verdurinów i radości, że z nimi skończył, mimo woli przybierały w ustach Swanna akcent czegoś sztucznego, jak gdyby ich przeznaczeniem było raczej zaspokoić jego gniew niż wyrazić myśl. W istocie, podczas gdy się oddawał tym inwektywom, myśl Swanna musiała być bez jego wiedzy pochłonięta przedmiotem zgoła odmiennym; znalazłszy się bowiem w domu, ledwie zamknięto bramę, uderzył się nagle w czoło, kazał otworzyć i wyszedł, wykrzykując naturalnym już głosem: „Zdaje mi się, że znalazłem sposób, aby mnie jutro zaproszono do Chatou!”. Ale sposób musiał być zły, bo Swanna nie zaproszono. Doktor Cottard, który, wezwany na prowincję do ciężko chorego, nie widział Verdurinów kilka dni i nie mógł być w Chatou, powiedział na drugi dzień, siadając u nich do stołu:

— Czy nie ujrzymy Swanna dzisiaj? On jest w istocie tym, co się nazywa osobisty przyjaciel...

— Och, spodziewam się, że nie! — wykrzyknęła pani Verdurin. — Niech nas Bóg strzeże od niego; jest nudny, głupi i źle wychowany.

Wobec tych słów Cottard objawił równocześnie swoje zdziwienie i swoje poddanie, jak wobec prawdy przeczącej wszystkiemu, w co wierzył dotąd, ale oczywiście i nieodpartej. Pochylając ze wzruszoną i trwożliwą miną nos nad talerzem, zadowolił się wykrzyknikiem: „A! a! a! a!”, przebiegając rączkiem, w regularnym odwrocie dokonanym w głąb samego siebie, gamę obejmującą cały rejestr jego głosu. I już nie było więcej mowy o Swannie u Verdurinów.

I tak salon, który zjednoczył Swanna i Odetę, stał się przeszkodą do ich spotkań. Odeta nie mówiła już jak w pierwszych czasach miłości: „W każdym razie zobaczymy się jutro wieczór, jest kolacja u Verdurinów”; ale: „Nie będziemy się mogli zobaczyć jutro, jest kolacja u Verdurinów”. Albo Verdurinowie mieli zabrać Odetę do Opéra-Comique na *Noc Kleopatry*; Swann czytał w oczach Odety lęk, że mógłby ją poprosić o to, żeby nie szła. Niegdyś nie mógł się powstrzymać, aby nie ucałować w przelocie owego lęku na twarzy kochanki, ale obecnie przywoził go ten wyraz do rozpacz. „To nie jest przecież gniew, powiadał sam sobie, to, czego doświadczam, gdy widzę, jak ona się wydziera do tej śmierdzącej muzyczki. Martwi mnie to po prostu; nie dla mnie oczywiście, ale dla niej. Martwi mnie, iż spędziwszy pół roku w codziennym kontakcie ze mną, nie umiała się na tyle odmienić, aby z własnego popędu wyeliminować produkty takiego Wiktora Massé! Przykro mi zwłaszcza, że ona nie rozumie, iż są wieczory, kiedy istota bodaj trochę subtelna powinna umieć się wyrzec przyjemności, skoro się ją o to prosi. Powinna umieć powiedzieć: »nie pójde«, choćby przez spryt, skoro odpowiedź jej ma raz na zawsze określić jej wartość duchową”.

I Swann wierzył, że jeżeli pragnie, aby Odeta została z nim wieczór zamiast iść do Opéra-Comique, to jedynie dlatego, aby móc sobie wyrobić korzystniejszy sąd o jej du-

chowej wartości; i używał wobec niej tych samych argumentów co wobec samego siebie — i tak samo nieszczerze, a nawet o stopień więcej, bo wówczas próbował ująć Odetę, grając na jej miłości własnej.

— Przysięgam ci — powiadała na chwilę przed jej wyjściem do teatru — proszę cię, żebyś nie szła, ale gdybym był egoistą, powinien bym pragnąć, abyś mi odmówiła. Mam tysiąc rzeczy do roboty dziś wieczór; jeśli się zgodzisz zostać, sam wpadnę we własne sidła i będę w wielkim kłopotcie. Ale moje zajęcia, moje przyjemności, to dla mnie nie jest wszystko; muszę myśleć o tobie. Może przyjdzie dzień, kiedy widząc, jak się na zawsze zraziłem do ciebie, będziesz miała prawo wyrzucać mi, że cię nie ostrzegłem w rozstrzygającym momencie; miłość niedługo zdoła przetrwać surowy wyrok wydany w takiej chwili. Widzisz, *Noc Kleopatry* (co za tytuł!) jest w tym wypadku niczym. Ważne jest to, czy ty jesteś doprawdy istotą na najniższym szczeblu inteligencji, a nawet wdzięku; marnym stworzeniem, niezdolnym oprzeć się przyjemności. Jeżeli jesteś czymś takim, w jaki sposób można by cię kochać? W takim razie nie jesteś nawet kimś, nawet indywiduum, niedoskonałym, ale bodaj zdolnym do udoskonalenia. Jesteś czymś w rodzaju bezpostaciowej cieczy, spływającej po każdej pochyłości; rybą bez pamięci i bez zastanowienia, która dopóki żyje w swoim akwarium, będzie się tłukła sto razy o szybę, wciąż biorąc ją za wodę. Rozumiesz, ja nie mówię, aby twoja odpowiedź koniecznie miała ten skutek, że natychmiast przestanę cię kochać. Oczywiście nie; ale ileż stracisz w moich oczach, kiedy zrozumieć, że ty jesteś nic, że jesteś poniżej wszystkiego, niezdolna wznieść się ponad cokolwiek! Oczywiście, wołałbym cię prosić, żebyś się wyrzekła *Nocy, Kleopatry* (skoro mnie zmuszasz, abym splugawił wargi tym ohydny tytułem) ot, jak o coś bez znaczenia, w nadziei, że i tak pójdziesz. Ale, zdecydowany sporządzić ten bilans, wyciągnąć takie konsekwencje z twojej odpowiedzi, uważałem za lojalniejsze uprzedzić cię.

Odeta zdradzała od paru chwil oznaki wzruszenia i niepewności. Nie rozumiejąc dokładnie sensu słów Swanna, rozumiała, że wchodzi one w pospolity rodzaj „scen”, wyrzutów lub błagań. Znajomość mężczyzn pozwalała Odecie — bez troski o jakość słów — wnioskować, że nie mówiliby tak, gdyby nie byli zakochani, a z chwilą gdy są zakochani, nie ma potrzeby się z nimi liczyć, bo będą później jeszcze bardziej zakochani. Toteż byłaby słuchała Swanna z największym spokojem, gdyby nie widziała, że czas mija i że, o ile mu pozwoli mówić dłużej, spóźni się, jak mu to rzekła z tkliwym, upartym i zawstydzonym uśmiechem: „na uverture!”

Innym razem Swann powiadał Odecie, iż rzeczą, która bardziej niż wszystko inne zabija w nim miłość to jej nałóg kłamstwa. „Nawet z punktu widzenia prostej kokieterii — powiadał — czy ty nie rozumiesz, ile tracisz uroku, zniżając się do kłamstwa? Ileż błędów mogłabyś okupić przyznaniem się! Doprawdy, ty jesteś o wiele mniej inteligentna niż myślałem!”

Ale na próżno Swann wykladał jej wszystkie racje, jakie nakazywałyby jej nie kłamać. Mogłyby zniweczyć w Odecie jakiś ogólny system kłamstwa; ale Odeta go nie miała. Po prostu za każdym razem, kiedy chciała, aby Swann czegoś nie wiedział, nie mówiła mu tego. Toteż kłamstwo było dla Odety jedynie doraźnym środkiem; a decyzja, czy ma użyć tego środka, czy też powiedzieć prawdę, była również sprawą doraźną, zależną od większej lub mniejszej szansy tego, że Swann odkryje kłamstwo.

Fizycznie Odeta przechodziła zły okres: tyła. Wymowny i bolesny wdźwięk, zdziwione i marzące spojrzenia, jakie miała niegdyś, zdawały się nikać z pierwszą młodością. Tak iż można rzec, że stała się ona Swannowi tak droga w momencie, kiedy właśnie wydawała się mu o wiele mniej ładna. Patrzył na nią długo, próbując pochwycić dawny jej urok, i nie odnajdywał go. Ale wiedział, że w tej nowej poczwarcie wciąż żyje Odeta, wciąż ta sama ulotna, niepochwytana i skryta wola: to wystarczyło Swannowi, aby wkładał tę samą namiętność w daremny wysiłek pochwycenia jej. Potem patrzył na jej fotografie sprzed dwóch lat, przypominał sobie, jaka była rozkoszna, i to pocieszało go trochę w jego cierpieniu.

Kiedy Verdurinowie zabierali Odetę do Saint-Germain, do Chatou, do Meulan często, jeżeli było ładnie, proponowali na miejscu, aby zostać na noc i wrócić aż jutro. Pani Verdurin starała się usmierzyć skrupuły pianisty, którego ciotka została w Paryżu.

— Będzie uszczęśliwiona, że się pana pozbędzie na jeden dzień. Czegóż by się miała niepokoić, skoro wie, że jesteś z nami? Zresztą biorę wszystko na siebie.

Kiedy się jej to nie udawało, pan Verdurin wypuszczał się, znajdował urząd telegraficzny albo posłańca i zapytywał wiernych, kto z nich życzy sobie kogoś uprzedzić. Ale Odeta dziękowała, oświadczając, że nie potrzebuje depeszować do nikogo, bo powiedziała Swannowi raz na zawsze, iż wysyłając do niego przy wszystkich depeszę, skompromitowałyby się. Czasami Odeta zniknęła na kilka dni; Vardurinowie zabierali ją, aby oglądać groby w Dreux lub za radą malarza podziwiać w Compiègne zachody słońca w lesie, przy czym docierano aż do zamku w Pierrefonds.

— Pomyśleć, że mogłaby zwiedzać prawdziwe zabytki ze mną, który dziesięć lat studiowałem architekturę i którego najwybitniejsi ludzie błagali, abym ich zabrał do Beauvais lub do Saint-Loup-de-Naud! Zrobiłbym to tylko dla niej! I ona zamiast tego jedzie w towarzystwie ostatnich bydłaków rozpylić się przed ekskrementami Ludwika Filipa oraz pana Viollet-le-Duc! Zdaje mi się, że to nie potrzeba być artystą i że nawet bez szczególnie subtelnego węchu nie wybiera się na wilegiaturę wychodka po to, aby szerzej móc oddychać łajnem.

Ale kiedy Odeta pojechała do Dreux albo do Pierrefonds, nie pozwalając Swannowi udać się tam, niby przypadkiem, na własną rękę, bo — powiadała — „to by zrobiło fatalne wrażenie”, wówczas Swann pograżał się w najbardziej upajającym romansie, w kolejowym rozkładzie jazdy, który wskazywał mu sposób spotkania jej popołudniu, wieczór, tego samego rana nawet! Sposób? Więcej niemal: uprawnienie. Bo ostatecznie rozkłady jazdy, a nawet koleje nie są przeznaczone dla psów! Jeśli się oznajmia publiczności za pomocą druku, że o ósmej rano odchodzi pociąg, który przybywa do Pierrefonds o dziesiątej, to dlatego, że udać się do Pierrefonds jest aktem godziwym, dla którego pozwolenie Odety jest zbędne. Zarazem jest to akt, który może mieć całkiem inną pobudkę niż chęć spotkania Odety, skoro spełniają go co dzień ludzie, którzy jej nie znają i to w liczbie dość znacznej, aby warto było dla nich ogrzewać lokomotywy.

Ostatecznie nie może mu zabronić wycieczki do Pierrefonds, jeżeli mu przyjdzie ochota! Otóż właśnie Swann czuł, że ma ochotę i że gdyby nawet nigdy nie znał Odety, pojechałby tam z pewnością. Od dawna chciał sobie wyrobić dokładniejsze zdanie o pracach konserwatorskich Viollet-le-Duca. I w taką pogodę jak dziś odczuwał nieprzepartą chęć przechadzki po lasach Compiègne.

To doprawdy fatalny zbieg, że Odeta wzbroniła mu jedynej miejscowości, która go dziś ęci. Dziś! Gdyby tak pojechał tam mimo jej zakazu, mógłby ją widzieć *dziś*! Ale cóż! Spotkawszy w Pierrefonds kogoś obojętnego, Odeta wykrzyknęłaby radośnie: „O, pan tutaj!” i zaprosiłaby tego obcego, aby ją odwiedził w hotelu, gdzie stała z Verdurinami. Przeciwnie, gdyby spotkała Swanna, byłaby niezadowolona, pomyślałaby, że ją śledzi, zraziłaby się do niego, może odwróciłaby się z gniewem na jego widok. „Więc ja nie mam już prawa podróżować!”, powiedziałyby mu za powrotem, podczas gdy w rezultacie to on nie miał prawa podróżować!

Aby się móc wybrać do Compiègne i do Pierrefonds tak, aby nie wyglądało, że jedzie za Odetą, wpadł Swann na pomysł, żeby go tam zabrał jeden z jego przyjaciół, margrabia de Forestelle, który miał majątek w tamtych stronach. Margrabia, któremu Swann oznajmił swój projekt, nie zdradzając pobudek, był uszczęśliwiony; po raz pierwszy od piętnastu lat Swann zgodził się wreszcie obejrzeć jego posiadłość; jeśli nie zostanie u niego na dłużej, obiecał mu bodaj wspólne wycieczki i spacerowanie przez kilka dni. Swann widział tam już siebie z panem de Forestelle. Nawet nim ujrzy tam Odetę, nawet gdyby mu się nie udało jej ujrzeć, co to za szczęście będzie stąpać po tej ziemi, gdzie, nawet nie znając w danej chwili ścisłego miejsca jej pobytu, może czuć drgającą wszędzie możliwość jej nagłego zjawienia się: w dziedzińcach zamku — pięknego już dla Swanna, skoro jechał go obejrzeć dla Odety; — na każdej ulicy miasteczka, które mu się oto wydało romantyczne; na każdej drodze w lesie, zaróżowionej głębokim i tkliwym zachodem słońca; — niezliczone schronienia, gdzie czało się kolejno i naraz, w niepewnej wszechobecności swoich nadziei, serce jego, szczęśliwe, wędrowne i zestokrotnione. „Zwłaszcza — mówiłby do pana de Forestelle — strzeżmy się wpaść na Odetę i na Verdurinów; dowiaduję się, że właśnie dziś są w Pierrefonds. Dość mamy czasu widywać się w Paryżu, nie byłoby warto się rozstawać po to, aby nie móc zrobić kroku bez siebie”.

I przyjaciel nie rozumiałby, czemu, znalazłszy się na miejscu, Swann zmienia dwadzieścia razy projekty, czemu przepatruje jadalnie wszystkich hoteli w Compiègne, nie

decydując się wstąpić, mimo że nigdzie nie było śladu Verdurinów, robiąc wrażenie, że szuka tego, przed czym rzekomo ucieka, uciekając zresztą istotnie, bo o ile by spotkał „paczkę”, usunąłby się z afektacją, rad, że widział Odetę, a zwłaszcza, że ona go widziała i to obojętnego, nietroszczącego się o nią. Ale nie, odgadłaby, że on jest tam dla niej. I kiedy pan de Forestelle zjawiał się, aby zabrać Swanna, ten odpowiadał: „Niestety, nie, nie mogę dziś jechać do Pierrefonds. Właśnie Odeta tam jest”. I mimo wszystko miło było Swannowi czuć, że, jeśli on jeden ze wszystkich ludzi nie ma prawa jechać tego dnia do Pierrefonds, to dlatego, że jest dla Odety kimś różnym od innych, jej kochankiem; że to ograniczenie jego udziału w powszechnym prawie cyrkulacji jest tylko jedną z form tej niewoli, tej miłości, która mu jest tak droga. Stanowczo lepiej nie ryzykować pokłócenia się z Odetą, lepiej być cierpliwym, czekać jej powrotu.

Spędzał dni pochylony nad mapą lasów Compiègne, jak gdyby to była mapa *krainy Czulości*; otaczał się fotografiami zamku Pierrefonds.

Z chwilą gdy nadchodził dzień możebnego powrotu Odety, Swann otwierał rozkład jazdy, obliczał, którym pociągiem mogła wyjechać i jakie pociągi zostały jej jeszcze, jeśli się zapóźniła. Nie wychodził z obawy rozminięcia się z depeszą; nie kładł się spać na wypadek, gdyby, wróciwszy ostatnim pociągiem, Odeta chciała mu zrobić niespodziankę i wpaść do niego w nocy. O, słyszał dzwonek do bramy, zdawało mu się, że zwlekają z otwarciem, chciał budzić odzwiernego, wychylał się z okna, aby wołać Odetę, o ile by to była ona, bo mimo poleceń, z którymi schodził dziesięć razy osobiście na dół, mogli powiedzieć Odecie, że go nie ma w domu. To służący wracał! Swann śledził nieustanny ruch pojazdów, na który dawniej nigdy nie zwrócił uwagi. Słyszał każdy wehikuł, z daleka, bliżej, coraz bliżej; słyszał, jak mija jego bramę, nie zatrzymując się i dalej niesie jakąś obecność nieprzeznaczoną dla niego. Czekał całą noc i bardzo zbytecznie, bo państwo Verdurin przyspieszyli powrót i Odeta była w Paryżu od południa. Nie przyszło jej na myśl uprzedzić Swanna; nie wiedząc, co robić z czasem, spędziła wieczór w teatrze sama, od dawna wróciła już do domu i spała.

Bo Odeta nawet nie pomyślała o nim. I takie chwile, w których zapominała po prostu o istnieniu kochanka, były Odecie najużyteczniejsze, lepiej pomagały jej przywiązać Swanna niż cała jej kokieteria. Bo w ten sposób Swann żył w ciągłym bolesnym niepokojem, dość potężnym, aby rozwinąć jego miłość już owego dnia, kiedy nie zastał Odety u Verdurinów i szukał jej cały wieczór. I nie miał — jak ja je miałem w Combray w moim dzieciństwie — szczęśliwych dni, w których zapomina się cierpienie mających odrozdzić się wieczorem. Swann spędzał dni bez Odety; chwilami powiadał sobie, że pozwolić tak ładnej kobiecie krążyć samej po Paryżu jest czymś równie nieostrożnym, co położyć szkatułkę pełną klejnotów na środku ulicy. Wówczas Swann oburzał się na wszystkich przechodniów jak na bandę złodziei. Ale ich zbiorowa bezkształtna twarz, nieuchwytna dla wyobraźni, nie podsycała jego zazdrości; raczej nużyła myśl Swanna, który przeciągając sobie rękę po oczach, wołał: „Wola boska!”; jak ci, co umęczeni zagadnieniem rzeczywistości świata lub nieśmiertelności duszy w akcie wiary szukają odprężenia dla znużonego mózgu. Ale wciąż myśl o nieobecnej mieszała się nierozłącznie z najprostszymi czynnościami Swanna — jak śniadanie, poczta, wyjście na miasto, układanie się do snu — przez sam smutek, jakim było spełnianie te czynności bez Odety. Odeta była spleciona z jego życiem niby owe inicjały Filiberta Pięknego w kościele w Brou, które z żalu po nim Małgorzata Austriacka wszędzie splotła z własnymi.

Czasem zamiast zostać w domu Swann szedł na śniadanie do pobliskiej restauracji, której dobrą kuchnię niegdyś cenił, a gdzie teraz zachodził jedynie z mistycznych i niedorzecznych zarazem pobudek składających się na pojęcie romantyczności. Chodził tam dlatego, że owa restauracja (istnieje jeszcze) nosiła tę samą nazwę co ulica, gdzie mieszkała Odeta: *Lapérouse*.

Czasami, kiedy Odeta wyjechała na krótko, dopiero po kilku dniach przychodziło jej na myśl uwiadomić Swanna, że jest w Paryżu. I mówiła mu całkiem po prostu, nie siłując się już jak niegdyś osłonić się na wszelki wypadek jakąś cząsteczką prawdy, że wróciła dopiero co, rannym pociągiem. Słowa te były kłamstwem; przynajmniej dla Odety były one kłamliwe, bezcielesne, pozbawione punktu oparcia we wspomnieniu przyjazdu na dworzec; kiedy je wymawiała, paraliżował je odmienny obraz tego, co robiła naprawdę w chwili, gdy rzekomo wysiadała z pociągu. Ale w wyobraźni Swanna słowa te nie spo-



tkwały żadnej przeszkody; wbijały się w jego myśl z siłą tak niewątpliwej prawdy, iż gdyby przyjaciel jakiś powiedział mu, że jechał tym pociągiem i nie widział Odety, Swann byłby przeświadczony, że to przyjaciel się omylił co do dnia lub godziny, skoro jego świadectwo nie godzi się ze słowami Odety. Te słowa wydałyby mu się kłamliwe jedynie wówczas, gdyby je od początku podejrzewał. Aby Swann uwierzył, że Odeta kłamie, trzeba było uprzedniego posądzenia. Wówczas to wystarczało. Wówczas wszystko, co mówiła Odeta, zdawało się Swannowi podejrzane. Kiedy słyszał w jej ustach jakieś nazwisko, było to z pewnością nazwisko któregoś z jej kochanków; raz wpadłszy na ten domysł, Swann trawił tygodnie całe na rozpaczy. Porozumiał się nawet raz z biurem detektywów, aby się wywieść o adres i sposób życia jakiegoś nieznanego; uspokoiłby się aż wówczas, kiedy by ów nieznanomy wyjechał w daleką podróż. W rezultacie Swann dowiedział się, że to był wuj Odety zmarły od dwudziestu lat.

Mimo że Odeta nie dozwalała mu na ogół spotkań w miejscach publicznych (mówiła, że stąd powstają plotki) zdarzało się, że się z nią znalazł razem na jakimś wieczorze, dokąd oboje byli zaproszeni — u Forcheville'a, u „mistrza” lub na balu dobroczynnym w jakimś ministerstwie. Widział Odetę, ale nie śmiał zostać z obawy zirytowania jej: myślałaby, że szpieguje przyjemności, jakich ona kosztuje z innymi. Przyjemności te przybierały w wyobraźni Swanna fantastyczne rozmiary, ponieważ nie widział ich zakończenia, wracając samotnie i idąc ze ściśniętym sercem spać, jak ja w kilka lat później, kiedy Swann miał przyjść do nas na obiad w Combray. I raz czy dwa poznał w takie wieczory ową radość, którą — gdyby nie następujące po niej tym gwałtowniejsze ataki uśmierzonego nagle niepokoju — można by nazwać spokojną radością, ponieważ polega na ukojeniu. I tak jednego razu Swann poszedł na chwilę na raut do malarza i już miał wychodzić. Zostawił tam Odetę zmienioną na świetną obcą istotę, pośród mężczyzn, którym spojrzenia jej i wesołość (ach, nie dla niego!) zdawały się wróżyć jakieś tajemne rozkosze tam lub gdzie indziej (może na „*Bal des Incoherents*”, dokąd ku rozpaczy Swanna Odeta mogła się wybrać później). Rozkosze te budziły w Swannie więcej zazdrości niż sam fakt cielesnego obcowania, dlatego że je sobie trudniej wyobrażał. Już miał opuścić pracownię, kiedy usłyszał, że go ktoś woła. Usłyszał słowa, które, odejmując zabawie ów groźny finał, czyniły ją Swannowi retrospektywnie czymś niewinnym; czyniły z powrotu Odety rzecz już nie niepojętą i straszliwą, ale słodką i znaną, podobną trochę do jego codziennego życia, tulącą się doń w jego własnym powozie. Te słowa odzierały samą Odetę z tego, co w niej było zbyt świetne i wesołe; mówiły, że to był tylko kostium przybrany na chwilę, dla niego, a nie w oczekiwaniu tajemniczych rozkoszy; kostium, który już się jej sprzykrzył. Wszystko to wyczytał w słowach, które Odeta rzuciła mu, kiedy był już na progu: „Czy nie zechciałby pan zaczekać na mnie pięć minut, ja też idę, wrócilibyśmy razem, odwiózłby mnie pan do domu”.

Prawda, iż jednego dnia Forcheville poprosił, żeby i jego zabrać; ale kiedy, przybywszy pod dom Odety, pytał, czy mu pozwoli wejść także, Odeta odparła, wskazując Swanna: „Och, to zależy od tego pana; niech pan jego poprosi! Wreszcie, niech pan wejdzie na chwilę, jeśli pan ma ochotę; ale nie na długo, bo uprzedzam pana, że on lubi spokojnie rozmawiać ze mną i że wtedy nie bardzo znosi gości. Och, gdyby pan znał tego człowieka tak jak ja go znam! Nieprawdaż, *my love*, że ja jedna znam cię dobrze?”.

Bardziej może jeszcze wzruszało Swanna, gdy Odeta zwracała doń w obecności Forcheville'a nie tylko słowa czułości, wyróżnienia, ale także uwagi krytyczne, jak np: „Jestem pewna, że pan nie odpowiedział jeszcze swoim przyjaciółom w sprawie niedzielnej obiadu. Niech pan nie idzie, jeżeli pan nie chce; ale niech pan przynajmniej będzie grzeczny”. Albo: „Czy pan bodaj zostawił tu swoje studium o Vermeerze, aby móc nad nim popracować jutro? Co za leniuch! Ja pana zmuszę do pracy!” — słowa które dowodziły, że Odeta wtajemniczona jest w jego zabawy i pracę, że mają wspólne życie. I mówiąc to, darzyła go uśmiechem, w którym Swann czuł ją całkowicie swoją.

W takich chwilach, podczas gdy ona przyrządzała oranżadę, nagle — jak kiedy źle uregulowany reflektor wodzi zrazu dokoła przedmiotu na ścianie wielkie fantastyczne cienie, które potem kurczą się i znikają w nim — wszystkie straszliwe i zmienne pojęcia, jakie Swann sobie tworzył o Odecie, znikają, łączą się z uroczym ciałem, które miał przed sobą. Przypuszczał nagle, że ta godzina spędzona w saloniku Odety, pod lampą, nie jest może godziną sztuczną, skomponowaną dla niego (dla zamaskowania owej

prerażającej i rozkosznej rzeczy, o której Swann myślał bez ustanku, nie mogąc jej sobie dobrze wyobrazić: godziny prawdziwego życia Odety, życia Odety, kiedy jego tam nie ma), z teatralnymi akcesoriami i owocami z kartonu, ale że to jest może naprawdę godzina życia Odety. Może, gdyby go tu nie było, przysunęłaby panu de Forcheville ten sam fotel i podała mu nie jakiś nieznaną napój, ale właśnie tę oranżadę? Może świat zamieszkały przez Odetę nie jest owym innym, prerażającym i nadprzyrodzonym światem, w który Swann ją bez ustanku przenosił, a który istniał może tylko w jego wyobraźni, ale światem rzeczywistym, niewydzielającym żadnego specjalnego smutku. Ów świat — to ten stół, na którym będzie mógł pisać, i ten napój, którego będzie mógł skosztować; wszystkie te przedmioty, na które patrzył z ciekawością, podziwem i wdzięcznością, bo jeżeli chłonąc jego marzenia oswoiły go od nich, i one w zamian wzbogaciły się jego marzeniami, ukazywały mu ich dotykając realizację, absorbowały jego myśl, kształtowały się plastycznie w oczach, uspakajając równocześnie serce. Och! Gdyby los pozwolił mu mieć wspólne mieszkanie z Odetą, czuć się u niej jak u siebie! gdyby, pytając służącego, co jest na śniadanie, mógł usłyszeć w odpowiedzi *menu* Odety; gdyby musiał jej towarzyszyć, choćby bez ochoty, z obowiązku dobrego męża, niosąc jej płaszcz, kiedy jest za gorąco, kiedy by Odeta zechciała przejść się rano po Avenue du Bois-de-Boulogne; a wieczór, po obiedzie, o ile by miała ochotę zostać w domu w szlafrocisku, gdyby musiał być przy niej, robić to, co ona zechce! Wówczas wszystkie drobniaczki życia Swanna — nawet najpospolitsze — które mu się zdawały tak smutne, nabrałyby jakiejś upajającej słodyczy, jakiejś tajemniczej gęstości przez to, że stałyby się zarazem częścią życia Odety jak ta lampa, jak ta oranżada, ten fotel, kryjące tyle marzenia, materializujące tyle pragnień.

Jednakże Swann domyślał się, że ten odpoczynek, spokój, do których tak wzdychał, nie byłyby sprzyjającą atmosferą dla jego miłości. Kiedy Odeta przestałaby dlań być istotą wciąż nieobecną, żalowaną, urojoną; kiedy jego uczucie dla niej byłoby już nie owym tajemniczym wzruszeniem, o jakie przyprowadziła go fraza sonaty, ale przywiązaniem, wdzięcznością; kiedy by się między nimi wytworzyły stosunki normalne, kładące koniec jego szaleństwu i smutkowi, bez wątpienia życie Odety samo w sobie wydałoby mu się wówczas mało interesujące, czego już kilka razy miał przeczucie, na przykład w dniu, kiedy przeczytał przez kopertę jej list do pana de Forcheville. Rozważając swoją chorobę równie sumiennie, co gdyby ją był sobie wszczepił dla studiów, Swann mówił sobie, iż, kiedy się wyleczy, wszelkie postępy Odety będą mu obojętne. Ale w pełnej świadomości swego chorobowego stanu obawiał się na równi ze śmiercią takiego wyleczenia, które byłoby w istocie śmiercią wszystkiego, czym był obecnie.

Po owych spokojnych wieczorach, podejrzenia Swanna uśmierzały się; błogosławił Odetę i nazajutrz z samego rana posyłał jej najpiękniejsze klejnoty za to, że jej wczorajsza dobroć wzbudziła albo jego wdzięczność, albo tęsknotę do nawrotu tej dobroci, albo paroksyzm miłości, któremu potrzebował dać wyraz.

Ale kiedy indziej chwycił go na nowo ból; wyobrażał sobie, że Odeta jest kochanką Forcheville'a. Z pewnością, kiedy siedzieli oboje z Forchevillem w landzie Verdurinów w Lasku, w wilię owego obiadu w Chatou, dokąd Swanna nie zaproszono; kiedy widzieli go, jak na próżno błagał Odetę z wyrazem rozpacz, oczywistym nawet dla jego stangreta, aby wróciła razem z nim; jak potem wracał sam, upokorzony; wówczas Odeta musiała go pokazywać Forcheville'owi, mówiąc: „Ależ się wścieka!”. I z pewnością miała to samo błyszczące, okrutne, podstępne i skryte spojrzenie, co w ów dzień, kiedy Forcheville wypędził od Verdurinów Saniette'a.

Wówczas Swann nienawidził jej. „Ale bo też ja jestem skończony głupiec — powiedział sobie; płacę swoimi pieniędzmi za cudzą przyjemność. Niechże ona też trochę uważa i zanedo nie przeciąga struny, bo mógłbym łatwo w ogóle przestać dawać cokolwiek. W każdym razie wyrzeczemy się chwilowo dodatkowych uprzejmości! Pomyśleć, że nie dalej niż wczoraj, kiedy wspomniła, że miałyby ochotę jechać na festiwal do Bayreuth, byłem na tyle głupi, aby jej zaproponować wynajęcie jednego z zameczków króla bawarskiego w okolicy dla nas dwojga. Zresztą wcale nie zdawała się tym zachwycona; nie powiedziała jeszcze ani tak, ani nie; miejmy nadzieję, że odmówi, wielkie nieba! Słuchać Wagnera przez dwa tygodnie z osobą, która zna się na muzyce tyle co kura na pieprzu, to byłoby wesołe!”

Nienawiść jego tak samo jak miłość potrzebowała wyrażać się, działać. Swann znajdował przyjemność w tym, aby posuwać coraz to dalej swoje wrogie domysły, ponieważ dzięki przewrotności, jaką przypisywał Odecie, nienawidził jej tym bardziej. Gdyby — jak starał się to sobie wyobrazić — przypuszczenia jego okazały się prawdą, mógłby mieć sposobność ukarania jej i wyładowania rosnącej wściekłości. Posunął się aż do przypuszczenia, że dostanie od Odety list, w którym poprosi go o pieniądze na wynajęcie owego zamku koło Bayreuth, ale uprzedzając Swanna, że nie będzie mógł przyjechać, bo przyrzekła Forcheville'owi i Verdurinom, że ich zaprosi. Och! Jakież byłby rad, gdyby się ośmieliła! Z jaką radością odmówiłby, z jaką rozkoszą ułożyłby mściwą odpowiedź! Z góry lubował się dobieraniem wyrażań, wykrzykiwał je na cały głos, tak jakby dostał list w rzeczywistości.

Otóż to właśnie ziściło się nazajutrz. Odeta napisała mu, że państwo Verdurin i ich przyjaciele wybraliby się chętnie na cykl wagnerowski i że, gdyby Swann zechciał ofiarować jej te pieniądze, miałyby wreszcie, sama tak często przyjmowana u nich, przyjemność zaproszenia ich wzajem. O Swannie nie mówiła ani słowa; rozumiało się samo przez się, że obecność pani Verdurin wyklucza jego udział.

Wówczas miał tę rozkosz, aby jej przesłać ową straszliwą odpowiedź, której każde słowo obmyślił w wilię, nie śmiejąc marzyć, aby mu się mogła kiedy przydać. Niestety! Czuł, że za pieniądze, które Odeta posiadała lub które znalazłaby łatwo, mogłaby i tak wynająć mieszkanie w Bayreuth, skoro miała ochotę; ona, niezdolna odróżnić Bacha od Clapissona! Ale, bądź co bądź, żyłaby tam mniej wystawianie. Nie będzie mogła — tak jakby to robiła za jego pieniądze — urządzać co wieczór w zamku owych wykwintnych kolacyjek, po których przyjdzie jej może ochota — co, być może, nie stało się jeszcze — znaleźć się w ramionach pana de Forcheville. I przynajmniej nie Swann będzie płacił tę nienawistną podróż! — Och! Gdyby mógł zapobiec temu, gdyby Odeta mogła zwichnąć nogę przed wyjazdem, gdyby stangret wiozący ją na kolej zgodził się za jaką bądź cenę zawieźć ją w miejsce, gdzie by pozostała jakiś czas uwięziona — przewrotna kobieta z oczami emaliowanymi uśmiechem współnictwa z Forchevillem, jaką była Odeta dla Swanna od czterdziestu ośmiu godzin.

Ale nigdy nie była taką zbyt długo. Po kilku dniach błyszczące i kłamliwe spojrzenie traciło swój blask i swoją przewrotność; ów obraz zniechęconej Odety mówiącej do Forcheville'a: „Ależ się wścieka!” zaczynał blednąć, zacierał się. Wówczas zjawiała się stopniowo jaśniejąca łagodnie twarz innej Odety, tej, która uśmiechała się do Forcheville'a, ale uśmiechem pełnym tklivości dla Swanna, kiedy mówiła: „Niech pan nie siedzi długo, pan Swann nie bardzo lubi, żeby ktoś był u mnie, kiedy on ma ochotę zostać. Och, gdyby pan znał tego człowieka tak, jak ja go znam!”. To był ten sam uśmiech, który miała, dziękując Swannowi za jakiś dowód jego delikatności, którą tak bardzo ceniła; za jakąś radę, której szukała w jednej z owych poważnych okoliczności, kiedy miała zaufanie tylko do niego.

Wówczas Swann zapytywał sam siebie, w jaki sposób mógł do tej Odety napisać obelżywy list, do którego z pewnością nie sądziła go zdolnym i który musiał go ściągnąć z wysokiego, jedyne szczębla, jaki dobroć jego, lojalność zdobyły mu w jej opinii. Miłość jej ucierpi od tego, bo, jeśli go kochała, to dla tych zalet, których nie znajdowała ani w panu de Forcheville ani w nikim innym. Dla tych zalet Odeta okazywała mu tak często czułość, którą Swann liczył za nic w chwili, gdy był zazdrosny, ponieważ czułość ta nie była wyrazem pragnienia, dowodziła raczej przywiązania niż miłości. Ale zaczynał czuć na nowo jej wartość w miarę, jak samorzutne odprężenie jego podejrzeń, często sprwadane jakąś lekturą lub gawędą z przyjacielem, czyniło jego namiętność mniej chciwą wzajemności.

Teraz, kiedy po tych wahaniach Odeta wróciła w naturalny sposób w miejsce, z którego zazdrość Swanna usunęła ją na chwilę, w perspektywę, w której wydawała mu się urocza, wyobrażał ją sobie ze spojrzeniem pełnym czułości i pokusy i tak ładną, że nie mógł się wstrzymać, aby nie wysunąć ku niej warg, jak gdyby była tuż i jak gdyby ją mógł pocałować. I za to czarujące i życzliwe spojrzenie zachował dla niej tyle wdzięczności, co gdyby ono istniało naprawdę; jak gdyby to nie było tylko jego urojenie, sposób uczynienia zadość własnym pragnieniom.

Jaką on jej musiał sprawić przykrość! Z pewnością miał dość przyczyn do urazy, ale przyczyny te nie wystarczyłyby, gdyby tak nie kochał Odety. Czyż nie miał równie poważnych pretensji do innych kobiet, którym mimo to oddałby dziś chętnie jakąś przysługę, nie czując do nich gniewu, bo ich już nie kochał? Gdyby miał kiedyś osiągnąć tę samą obojętność w stosunku do Odety, zrozumiałby, że to jedynie zazdrość kazała mu znajdować coś okrutnego, nieprzebacznego w owym jej pragnieniu, tak naturalnym w gruncie, płynącym z odrobiny dzieciństwa, a także z pewnej delikatności duszy, aby móc z kolei — skoro się nadarzyła sposobność — odwzajemnić państwu Verdurin ich grzeczność, zabawić się w panią domu.

Wracał do tego punktu widzenia, przeciwnego perspektywom jego miłości i zazdrości. Silił się wznieść do jakiejś bezstronności intelektualnej; brał w rachubę różne możliwości, próbował sądzić Odetę tak, jakby jej nie kochał, jak gdyby była dlań kobietą taką jak inne, tak jakby życie Odety nie było — z chwilą jego nieobecności — obce, knute w sekrecie przed nim, przeciw niemu.

Czemu przypuszczać, że ona tam będzie kosztowała z Forchevillem albo z innymi upajających rozkoszy, których nie zaznała ze Swannem i które są wyłącznie tworem jego zazdrości? W Bayreuth czy w Paryżu, jeśli się zdarzy Forcheville'owi myśleć o nim, to jedynie jak o człowieku grającym wielką rolę w życiu Odety, jak o człowieku, któremu musi ustępować miejsca, kiedy się u niej spotkają. Gdyby Odeta i Forcheville tryumfowali, że są tam mimo niego, Swann sam byłby temu winien, starając się daremnie przeszkodzić tej podróży. Przeciwnie, gdyby pochwalił jej projekt — ostatecznie niewinny — robiłoby to wrażenie, że ona jest tam za jego zgodą, czułaby się tam jakby wyprawiona, ulokowana przez niego. Przyjemność podejmowania ludzi, którzy ją tak często ugaszczali, zawdzięczałaby poniekąd Swannowi. Gdyby posłał Odecie te pieniądze, gdyby ją zachęcił do podróży i postarał umilić się pobyt, wówczas zamiast jechać nadąsana, bez pożegnania, przybiegłaby do niego szczęśliwa, wdzięczna; miałby radość widzenia jej, radość, której nie kosztował blisko od tygodnia, a której nic nie mogło mu zastąpić. Bo skoro tylko Swann mógł sobie wyobrazić Odetę bez wstępu, skoro znów widział dobroć w jej uśmiechu, kiedy zazdrość nie zaostrzała jego miłości żądzą odebrania Odety każdemu innemu, wówczas miłość ta stawała się zwłaszcza upodobaniem w jej osobie. Podziwiał niby widowisko lub badał jak zjawisko przyrody wznoszenie się jej spojrzeń, rodzenie się jej uśmiechu, barwę jej głosu. I ta przyjemność, różna od wszystkich innych, stworzyła w nim w końcu potrzebę Odety, potrzebę, którą jedynie ona mogła usmierzyć swoją obecnością albo swoimi listami. Potrzeba ta była prawie równie bezinteresowna, artystyczna, równie perwersyjna jak inna pasja cechująca to nowe życie Swanna, w którym po oschłości i depresji dawniejszych lat nastąpił rodzaj duchowego przekrwienia. Nie wiedział, czemu zawdzięcza to nieoczekiwane wzbogacenie swego dawniejszego życia, niby osoba delikatnego zdrowia, która od pewnego momentu nabiera sił i ciała i zdaje się przez jakiś czas zbliżać do zupełnego wyleczenia. Ową drugą pasją, która się w nim rozwijała również poza realnym światem, było słuchanie i poznawanie muzyki.

Toteż przez sam chemizm swojej choroby, po okresie, w którym destylował ze swojej miłości zazdrość, zaczynał znów wytwarzać czułość, litość dla Odety. Znów stawała się Odetą uroczą i dobrą. Miał wyrzuty, że był dla niej twardy. Pragnął, że by przyszła do niego; przedtem zaś chciał jej sprawić jakąś przyjemność, widzieć, jak wdzięczność rzeźbi jej twarz, modeluje jej uśmiech.

Toteż Odeta, pewna, że on przyjdzie po kilku dniach równie czuły i uległy jak wprzódy, aby ją błagać o pojednanie, przywykła już nie bać się żalów ani nawet gniewów Swanna i, o ile jej to było na rękę, odmawiała mu faworów, na których zależało mu najwięcej.

Może nawet nie wiedziała, jak bardzo. Swann był szczery w momencie sprzeczki, kiedy mówił, że jej już nie pośle pieniędzy i że będzie się starał jej szkodzić. Może również nie wiedziała, jak bardzo był szczery, jeżeli nie wobec niej, to bodaj wobec samego siebie w innych wypadkach, kiedy dla dobra ich wspólnej przyszłości, aby pokazać Odecie, że może się bez niej obejść, że zerwanie jest zawsze możliwe, postanawiał przetrwać jakiś czas, nie widząc jej.

Czasami robił to po kilku dniach, w których Odeta nie sprawiła mu nowej zgryzoty; wiedział zaś, że najbliższe spotkania z nią nie mogą mu przynieść żadnej wielkiej słodyczy, raczej jakąś nową przykrość, która położy koniec obecnemu spokojowi. Pisał wtedy

do Odety, że, będąc bardzo zajęty, nie może jej odwiedzić w żaden z zapowiedzianych dni. I otóż list od niej, mijając się z jego listem, prosił go właśnie o przesunięcie któregoś spotkania. Natychmiast Swann zastanawiał się nad przyczyną jej kroku: podejrzenia, udręki chwytaly go na nowo. W tej nowej gorączce nie mógł już dotrzymać postanowień, jakie powziął w poprzednim stanie względnego spokoju; biegł do Odety i domagał się widzenia jej we wszystkie najbliższe dni. Nawet jeżeli ona nie napisała doń pierwsza, jeżeli tylko odpowiedziała na jego list, to wystarczało, aby Swann nie mógł wytrwać bez jej widoku. Bo na wspak jego rachubom zgoda Odety zmieniała w nim wszystko. Jak wszyscy, którzy posiadają jakąś rzecz, chcą sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby nagle przestali ją posiadać, usunął tę rzecz ze swojej duszy, zostawiając wszystko inne w tym stanie, co kiedy ona tam była. Otóż nieobecność jakiejś rzeczy nie jest jedynie tym; to nie jest prosty częściowy brak; to jest zburzenie całej reszty, nowy stan, którego nie można przewidzieć w dawnym.

Innym razem przeciwnie, kiedy Odeta wybierała się w podróż, wówczas Swann po jakiejś drobnej, dowolnie upozorowanej sprzeczce, decydował się nie pisać do niej i nie widzieć jej przed powrotem. W ten sposób, z całym wyrachowaniem, rozłąkę rozpoczętej jedynie nieco wcześniej, nieuniknionej przez sam fakt podróży, dawał pozór wielkiego zerwania, które Odeta weźmie może za ostateczne. Już wyobrażał sobie kochankę niespokojną, strapioną brakiem jego wizyty lub listu; a obraz ten, uspakajając jego zazdrość, ułatwiał mu odzwyczajenie się od jej widoku. Bez wątpienia chwilami, w zaułku świadomości, dokąd wola Swanna spychała tę myśl, dzięki trzem tygodniom postanowionej rozłąki z przyjemnością zważał nadzieję ujrzenia Odety za powrotem; ale czynił to tak nieskwapliwie, że zaczynał pytać sam siebie, czy nie podwoiłby chętnie trwania tak mało dotkliwego braku. Rozłąka datowała dopiero od trzech dni; czasami o wiele dłużej nie widywał Odety i to bez uprzedniego przygotowania. Mimo to, niechby jakaś lekka przeciwność lub niedyspozycja fizyczna pozwoliła mu uważać daną chwilę za moment wyjątkowy, specjalny, w którym sam rozsądek godzi się przyjąć ulgę czerpaną z przyjemności i daje urlop woli aż do podjęcia nowego, celowego wysiłku — już działanie tej woli słabło. I nawet jeszcze mniej: przypominał sobie np. że zaniedbał poprosić Odety o jakąś wskazówkę; ot, na jaki kolor chce przemalować swój powóz; lub jakieś sprawy giełdowe, czy chce nabyć akcje zwykle czy uprzywilejowane (bardzo to ładna rzecz pokazać, że może istnieć bez widzenia jej, ale gdyby potem trzeba było przemalować na nowo lub gdyby akcje nie dały dywidendy, dużo by na tym zyskał!) — i oto myśl ujrzenia Odety, jak napięta gumelastyka lub powietrze w machinie pneumatycznej, z nieokreślonych dali, w których Swann ją trzymał, wracała jednym skokiem w pole doraźnych i natychmiastowych możliwości.

Myśl ta wracała, nie znajdując już sprzeciwu, zresztą tak nieodparta, że Swann mniej cierpiał wprzód, dzień po dniu, czując, jak się zbliżają dwa tygodnie spodziewanej rozłąki z Odetą, niż teraz, czekając dziesięć minut, aż stangret zaprzęgnie powóz, który miał go do niej zawieźć. Minuty te spędzał w transach niecierpliwości i radości, w których po tysiąc razy z nagłą tkliwością obracał w głowie myśl ujrzenia Odety; myśl, która w chwili, gdy przypuszczał, że jest tak daleko, znalazła się nagłym zwrotem i tak blisko niego w najbliższej świadomości! Bo ta myśl nie znajdowała już zapory w pragnieniu przezwyciężenia jej: pragnienie to przestało istnieć u Swanna od czasu, jak dowiódł sam sobie — tak sądził przynajmniej — że mu to przyszło tak łatwo. Nie widział już żadnej przeszkody, aby odroczyć tę próbę rozłąki, co do której był teraz pewien, że ją potrafi uskutecznić, skoro zechce. Bo też owa myśl ujrzenia Odety wracała strojna dlań nowością, urokiem, obdarzona siłą, którą przyzwyczajenie zwątpiło, ale która skrzepiła się w owej prywatności trzech dni, ale piętnastu (bo czas wyrzeczenia się trzeba liczyć przez antycypację wedle oznaczonego z góry terminu). To, co byłoby dotąd oczekiwaną i łatwą do poświęcenia przyjemnością, stawało się nieoczekiwanym szczęściem, wobec którego jest się bez obrony. I myśl ta wracała upiększona nieświadomością tego, co Odeta mogła myśleć i robić w miarę, jak on nie daje znaku życia; tak że kochanka, którą miał odnaleźć, stawała się pasjonującym objawieniem Odety prawie nieznanego.

Ale Odeta, jak odmowę pieniędzy uważała tylko za fintę, tak samo widziała jedynie pretekst w informacjach tyjących odmalowania powozu lub kupna papierów, o które to wskazówki Swann przychodził ją rzekomo prosić. Bo Odeta nie odtwarzała sobie

rozmaitych faz, które on przechodził; nie siliła się zrozumieć ich mechanizmu, wierząc tylko w to, co znała z góry, w konieczne, niezawodne i zawsze jednakie zakończenie. Pojęcie niekompletne — tym głębsze może, o ile sądzić z punktu Swanna, który byłby z pewnością uznał, że Odeta go nie rozumie; tak jak morfinista albo gruźlik czują się niezrozumiani przez lekarza. Jeden z nich sądzi, że mu stanęły w poprzek jedynie nie-szczęśliwe okoliczności, gdy już się miał wyleczyć z zastarzałego nałogu; drugi wierzy, że go zaskoczyła przygodna niedyspozycja w chwili, gdy miał wreszcie wyzdrowieć; ale lekarz nie przywiązuje zbytnej wagi do tych rzekomych przypadków; uważa je za prostą maskaradę nałogu lub choroby, które obrały tę postać, aby się przypomnieć pacjentom, nie przestając w rzeczywistości beznadziejnie ciążyć nad nimi, gdy oni się łudzili rojeniami o silnej woli lub o wyzdrowieniu. I w istocie miłość Swanna doszła do punktu, gdy lekarz — a w niektórych chorobach i najśmielszy chirurg — pytają sami siebie, czy rozsądne lub nawet możliwe jest pozbawić chorego jego nałogu albo odjąć mu jego chorobę.

To pewna, że Swann nie miał bezpośredniego poczucia rozmiarów swojej miłości. Kiedy starał się ją zmierzyć, często zdawała mu się zmniejszona, niemal sprowadzona do zera. Chłód, niemal wstręt, jaki budziły w nim — zanim pokochał Odetę — jej wyraziste rysy, jej nieswieża cera, wracały mu w pewne dni. „Doprawdy, jest widoczny postępek — powiedział sobie nazajutrz — ściśle biorąc, nie czułem wczoraj prawie żadnej przyjemności, będąc z nią w łóżku; a nawet — to ciekawe — wydawała mi się brzydka”. I niewątpliwie był szczerzy, ale miłość jego rozpościerała się już daleko poza regiony fizycznego pożądania. Nawet osoba Odety nie zajmowała w niej już wiele miejsca. Kiedy spojrzenie Swanna padło na jej fotografię lub kiedy ona sama przyszła do niego, zaledwie mógł utożsamić jej rzeczywistą lub sportretowaną twarz z owym bolesnym i stałym wzruszeniem, jakie w nim mieszkalo. Powiadał sobie prawie ze zdziwieniem: „To ona”, jak gdyby nam nagle uzewnętrznilo obraz jednej z naszych chorób, która by się nam nie wydała podobna do tego, co cierpimy. „Ona” — próbował pytać sam siebie, co to takiego; bo w tym jest podobieństwo między miłością a śmiercią (raczej niż inne mętne podobieństwa, które się wciąż przytacza), że każą nam one wnikać coraz głębiej w tajemnice osobowości w obawie, że ich realność nam się umyka. I ta choroba, którą była miłość Swanna, tak się rozrosła, tak ściśle zespoliła się z jego nawykami, ze wszystkimi jego czynnościami, z jego myślą, zdrowiem, z jego snem, życiem, nawet z tym, czego by pragnął po śmierci, tak dalece stopiła się z nim samym, że nie dałoby się jej wyrwać z niego, nie niweczając go prawie całkowicie; miłość jego, jak się mówi w chirurgii, nie nadawała się już do operacji.

Przez tę miłość Swann oderwał się od wszystkich zainteresowań. Czasem pokazywał się w wielkim świecie, powiadając sobie, że jego stosunki — jak elegancki zaprząg, którego Odeta nie umiała zresztą dobrze ocenić — mogłyby mu przydać nieco wartości w jej oczach. I byłoby to może prawdą, gdyby jego stosunki nie były tak zdeprecjonowane właśnie przez tę miłość, która obniżała dla Odety cenę wszystkiego przez to, że on sam tego nie cenił. Teraz, będąc w towarzystwie, obok smutku pobytu wśród rzeczy i ludzi, których Odeta nie znała, Swann odczuwał ową bezinteresowną przyjemność, jaką znajdowałby w powieści lub obrazie przedstawiających uciechy próżniaczkiej klasy; jak znowuż, będąc u siebie, lubił zważać wzorowe funkcjonowanie domowego mechanizmu, elegancję swojej garderoby i liberii, dobrą lokatę kapitałów. To było dlań to samo, co czytać w ulubionym Saint-Simonie o porządku dnia i *menu* posiłków pani de Maintenon lub o chytrej drapieżności i szerokim trybie życia Lulliego. I w miarę słabych zainteresowań, jakie jeszcze zachował, Swann czerpał jakby nową przyjemność w tym, aby się móc przenieść na chwilę w owe szczupłe okolice swojego ja, które pozostały niemal obce jego miłości, jego zgrzyocie. Pod tym względem czuł się obecnie najlepiej w osobowości, w której moja cioteczna babka widziała go jako „młodego Swanna” — osobowości różnej od owej drugiej, bardziej indywidualnej, jaką był pan Karol Swann. Jednego dnia chciał posłać owoce na urodziny księżnej parmeńskiej, ile że często mogła pośrednio przydać się Odecie, dostarczając mu miejsc na jakieś uroczystości, na galowe przedstawienia. Nie bardzo umiając dać z tym sobie radę, obarczył zamówieniem kuzynkę swojej matki, uszczęśliwioną, że mu się może przysłużyć. Zdając sprawę ze zlecenia, doniosła mu, że nie kupiła wszystkich owoców w jednym sklepie, ale wzięła winogrona u Crapote, którego są specjalnością, truskawki u Jaureta, gruszki u Cheveta, gdzie są najpiękniejsze, etc. „Każdy owoc — pisała — obejrzałam i wybrałam sztuka po sztuce”. I w istocie, z po-

dziękowań księżnej mógł Swann ocenić wonność truskawek i soczystość gruszek. Ale zwłaszcza owo: „każdy owoc obejrzałam i wybrałam sztuka po sztuce” stało się ukojeniem dla jego cierpienia, unosząc jego świadomość w sferę, w której bawił rzadko, mimo że do niej należał jako spadkobierca bogatego i szanownego mieszczaństwa, gdzie przechowywała się dziedzicznie, gotowa na jego usługi, skoro tego zapragnie, znajomość „dobrych adresów” i umiejętność zamówień.

Z pewnością Swann od zbyt dawna zapomniał, że był „młodym Swannem”, aby nie odczuć — kiedy znów stał się nim na chwilę — przyjemności żywszej niż te, których kosztował zwykle i na które był znieczulony. O ile uprzejmość mieszczań, dla których pozostał zwłaszcza owym „młodym Swannem” była mniej żywa niż uprzejmość arystokracji (ale pochlebniejsza, bo w owej sferze przynajmniej nieodłączna jest od szacunku), to pewna, że żaden bilecik książęcej Wysokości, żadne dostojne rozrywki, które mu ofiarowywano, nie mogłyby być Swannowi równie miłe jak list, w którym proszono go na świadka ślubu, lub bodaj proste zaproszenie na ślub w rodzinie starych przyjaciół jego rodziców. Niektórzy zachowali z nim stosunki — jak np. dziadek, który poprzedniego roku zaprosił Swanna na ślub mojej matki; inni ledwie go znali osobiście, ale poczuli się do obowiązków grzeczności dla syna nieboszczyka Swanna, jego godnego spadkobiercy.

Ale dzięki dawnej zażyłości światowcy również w pewnej mierze stanowili część jego domu, otoczenia i jakby rodziny. Przechodząc w myśli swoje świetne stosunki, Swann miał poczucie tego samego bezpieczeństwa, komfortu, co patrząc na piękne dobra ziemskie, piękne srebra, piękną bieliznę stołową, które odziedziczył po swoich. Myślał że, gdyby go nagle w domu poraził jakiś atak, lokaj pobiegłby odruchowo po księcia de Chartres, po księcia de Reuse, po księcia de Luxembourg, po barona de Charlus; i owa myśl przynosiła mu tę samą pociechę, co naszej starej Franciszce świadomość, iż będzie pochowana we własnym cienkim płótnie, znaczone, niecerowanym (lub cerowanym tak delikatnie, że to dawało jedynie tym wyższe pojęcie o staraniu pracownicy), w całunie, którego często wspomniany obraz dawał jej niezawodną satysfakcję jeżeli nie komfortu, to bodaj zadowolonej próżności. We wszystkich postępkach i myślach odnoszących się do Odety Swann ulegał wciąż tajonemu uczuciu, że jest jej może nie mniej drogi, ale jako towarzystwo mniej miły od kogokolwiek, od najnudniejszego z „paczki” Verdurinów; toteż kiedy się przenosił myślą w świat, dla którego był człowiekiem uroczym i pożądanym, gdzie robiono wszystko, aby go ściągnąć, gdzie rozpaczano, że go się tak mało widuje, zaczynał wierzyć w istnienie szczęśliwego życia, prawie odczuwał jego głód. Podobny był wówczas choremu leżącemu od wielu miesięcy w łóżku, na diecie, gdy ujrzy w dzienniku menu oficjalnego śniadania lub anons wycieczki na Sycylię.

O ile Swann musiał się usprawiedliwiać przed przyjaciółmi z towarzystwa, że ich zaniedbuje, o tyle czuł potrzebę usprawiedliwienia przed Odetą swoich u niej wizyt. A jeszcze płacił za nie, zastanawiając się z końcem miesiąca — o ile bodaj trochę nadużył cierpliwości Odety i odwiedzał ją częściej — czy wystarczy jej posłać cztery tysiące franków! I dla każdej wizyty znajdował jakiś pozór: prezent, który przynosił Odecie; informację, której potrzebowała; pana de Charlus, którego spotkał idącego do niej i który zmusił jakoby Swanna, aby mu towarzyszył. W braku pretekstu prosił pana de Charlus, aby zaszedł do Odety i aby sobie niby to przypomniał, ot, w trakcie rozmowy, że ma pilno do pomówienia ze Swannem, prosząc, aby go zechciała sprowadzić; ale najczęściej Swann czekał daremnie: Charlus powiadał mu wieczorem, że sztuczka się nie powiodła. Tak, iż Odeta, która teraz często wyjeżdżała, niewiele widywała Swanna, nawet będąc w Paryżu. Ona, która wówczas, gdy go kochała, mówiła: „Jestem zawsze wolna” i: „Cóż mnie może obchodzić, co sobie ludzie myślą?”, teraz za każdym razem, kiedy Swann ją chciał widzieć, zasłaniała się konwenansami lub tłumaczyła się zajęciem. Kiedy się chciał wybrać na jakiś bazar dobroczynny, na wernisaż, premierę, gdzie ona miała być, mówiła, że się z nią afszuje, że ją traktuje jak kokotę.

Swann wiedział, że Odeta zna i bardzo ceni mego wuja Adolfa, z którym on sam był w przyjaźni; otóż, pragnąc nie być całkowicie pozbawiony widoku Odety, zaszedł raz do niego na ulicę Bellechasse, aby go poprosić o użycie swego wpływu na nią. Ile razy Odeta wspomniała Swannowi o moim wuju, uderzała w tony poetyczne, powiadając: „Och, on, to nie to co ty; jego przyjaźń dla mnie to rzecz taka piękna, taka wielka, taka ładna! On by z pewnością nie poniżył mnie do tego stopnia, aby się chcieć wciąż ze

mną pokazywać w miejscach publicznych”; toteż Swann był w kłopotcie i nie wiedział, do jakiego tonu ma się wzniesić, mówiąc z wujem Adolfem o Odecie. Ustalił najpierw a priori doskonałość Odety; dogmat jej seraficznej nadziejskości; objawienie jej cnót niedających się ani wykazać, ani wywieść z doświadczenia. „Chcę z tobą pomówić. Ty wiesz, czym jest Odeta, kobieta nieporównana, istota cudowna, anioł. Ale wiesz także, co to jest życie w Paryżu. Nie wszyscy widzą Odetę w tym świetle, co ty i ja. Są tedy ludzie, którzy znajdują, że ja odgrywam rolę trochę śmieszną; ona nie dopuszcza nawet myśli, abym ją mógł spotkać gdzieś poza domem, w teatrze na przykład. Ty, do którego ona ma takie zaufanie, czy nie mógłbyś jej powiedzieć parę słów za mną, upewnić ją, że przesadza, że fakt mojego ukłonu nie jest niczym kompromitującym”.

Wuj poradził Swannowi, aby jakiś czas wstrzymał się od widywania Odety, co tylko dobrze wpłynie na jej uczucia; Odecie zaś poradził, aby pozwoliła Swannowi spotykać ją do woli. W kilka dni potem Odeta napomknęła Swannowi, że się zawiodła na moim wuju; że to jest samiec podobny do wszystkich innych: próbował wziąć ją siłą! Uspokoiła Swanna, który w pierwszej chwili chciał wyzwać wuję; ale kiedy go spotkał, odmówił mu podania ręki. Żałował później tego zerwania z wujem Adolfem, ile że, gdyby go widywał czasami i mógł z nim rozmawiać poufnie, byłby mógł rozświetlić niektóre pogłoski dotyczące dawnego życia Odety w Nizy, gdzie wuj Adolf spędzał zwykle zimę. Swann przypuszczał nawet, że wuj może tam poznać Odetę. Jakies słówko, które się wyrwało komuś w obecności Swanna o człowieku będącym jakoby niegdyś kochankiem Odety, wstrząsnęło nim. Ale rzeczy, które — zanim je poznał — wydałyby mu się najokropniejsze i najbardziej nie do wiary, raz doszedłszy do jego świadomości wcielały się na zawsze w jego smutek; przyjmował je, nie pojmował już, że mogłoby ich nie być. Jedynie każda z nich zostawiała niezatartą rysę na pojęciu, jakie sobie tworzył o swojej kochance.

Zdał sobie nawet raz sprawę, że lekkie obyczaje Odety, których nie byłby podejrzewał, były dosyć znane; w Baden i w Nizy, gdzie spędzała niegdyś po kilka miesięcy, miała rodzaj swoistej sławy. Swann starał się zbliżyć do niektórych viveurów, aby ich wybać; ale ci wiedzieli, że on zna Odetę; przy tym Swann bał się przypominać im Odetę, naprowadzać ich na jej ślady. Dotychczas nic mu się nie mogło wydać równie ciche jak wszystko, co się odnosiło do kosmopolitycznego życia Baden lub Nizy; ale skoro się dowiedział, że Odeta może niegdyś „puszczała się” w owych miejscach rozkoszy (przy czym nie zdołał nigdy dojść, czy robiła to jedynie dla pieniędzy, których dzięki Swannowi nie potrzebowała, czy przez kaprys, który mógłby się odrodzić), teraz pochylał się z bezsilnym, ślepy i zawrotnym łękiem nad przepaścią bez dna, gdzie utonęły owe lata siedemdziesiąte, podczas których spędzało się zimę na *promenade des Anglais*, a lato pod lipami w Baden. Znajdował w nich jakąś głębię, bolesną, ale wspaniałą, podobną tej, której użyczyłby im poeta; i gdyby drobne kroniki ówczesnego Jasnego Brzegu mogły mu pomóc coś zrozumieć z uśmiechu albo ze spojrzeń — tak uczciwych i prostych! — Odety, włożyłby w ich odtwarzanie więcej pasji niż estetyk badający stare dokumenty Florencji XV wieku, aby przez nie głębiej wniknąć w duszę Primavera, pięknej Vanny lub Wenus Botticellego.

Często, nic nie mówiąc, patrzył na Odetę, dumał; ona powiadała mu: „Jaką ty masz smutną minę!”. Niedawno jeszcze temu od myśli, że Odeta jest dobrą istotą, podobną do najlepszych, jakie znał, Swann przeszedł do poglądu, że jest zwykłą utrzymanką; i na odwrót, zdarzyło mu się od tego czasu wrócić od Odety de Crécy, zanadto może znanej birbantom i kobieciarzom, do tej twarzy o wyrazie niekiedy tak słodkim, do tej natury tak ludzkiej. Powiadał sobie: „Cóż to ma za znaczenie, że w Nizy wszyscy wiedzą, kto jest Odeta de Crécy? Takie reputacje, nawet gdy są prawdziwe, są produktem cudnych pojęć”. Myślał sobie, że ta legenda — choćby nawet była autentyczna — jest czymś poza Odetą; że nie mieszka w niej jako niezniszczalna i złowroga osobowość; że owa istota, która mogła zejść chwilowo na złe drogi, to jest kobieta o dobrych oczach, o sercu pełnym współczucia dla niedoli, o uległym ciele, które trzymał i ścisnął w ramionach i pieścił je; kobieta, którą zdoła może kiedyś posiąść całą, jeżeli potrafi stać się jej nieodzownym. Była przy nim, tuż obok, często zmęczona, z twarzą wyzbytą na chwilę gorączki i radosnej żądzy nieznanych rzeczy, które zadawały Swannowi ból; rozcinała włosy rękami; czoło jej, twarz wydawały się szersze; wówczas nagle, niby żółty płomień tryskała z jej oczu jakaś myśl po prostu ludzka, jakieś dobre uczucie, takie, jakie zjawia się we wszystkich



istotach, kiedy stają się bardziej sobą, w chwili odpoczynku lub skupienia. I natychmiast cała twarz Odety rozświecała się niby szary krajobraz pokryty chmurami, które rozsuna się nagle, aby go przeobrazić w blaskach zachodu. W takich momentach Swann byłby mógł podzielić życie wewnętrzne Odety, nawet przyszłość, którą zdawała się oglądać w zadumie; nie czuć w niej było osadu żadnych złych wyruszeń. Takie chwile, mimo iż coraz rzadsze, nie były daremne. We wspomnieniu Swann spajał te cząsteczki, zacieśniał szczeliny, odlewał w złocie Odetę pełną dobroci i spokoju; dla tej Odety uczynił później (jak się to okazało w drugiej części utworu) ofiary, których nie byłaby uzyskała tamta.

Ale jakże te chwile były rzadkie i jak mało ją teraz widywał! Nawet co się tyczyło ich wspólnego wieczoru, dopiero w ostatniej minucie Odeta mówiła mu, czy będzie mu go mogła udzielić; licząc bowiem na to, że Swann jest dla niej zawsze wolny, chciała się wprzód upewnić, czy nikt inny nie zapowie się do niej. Powiadała mu, że musi czekać na odpowiedź niezmiernej dla niej wagi; i nawet w czasie bytności Swanna w ciągu wieczora, jeśli przyjaciele wzywali Odetę do teatru lub na kolację, podskakiwała radośnie i ubierała się co prędzej. W miarę postępów toalety każdy jej ruch zbliżał Swanna do chwili, w której będzie trzeba pożegnać kochankę, do chwili, w której Odeta pomknie niewstrzymanym pędem. Kiedy wreszcie gotowa, zatapiając po raz ostatni w lustrze podniecone i baczne spojrzenia, kładła nieco różu na wargi, poprawiała grzywkę i kazała podać błękitny wieczorowy płaszcz ze złotymi guzami, Swann miał minę tak smutną, że Odeta nie mogła wstrzymać zniecierpliwienia. „Oto jak mi dziękujesz — mówiła — za to, że ci pozwoliła zostać do ostatniej chwili. A ja myślałam, że robię ci przyjemność. Dobrze to wiedzieć na inny raz!”

Czasami, ryzykując jej gniew, postanawiał sobie, że się będzie starał zbadać, dokąd ona poszła; marzył o zbliżeniu się z Forchevillem, który zdołałby go może oświecić. Zresztą, kiedy Swann wiedział, z kim Odeta spędziła wieczór, najczęściej mógł pośród swoich przyjaciół znaleźć kogoś, kto znał choćby pośrednio jej towarzysza; z łatwością mógłby uzyskać jakąś informację. I kiedy pisał do któregoś z przyjaciół, prosząc go, aby się starał rozjaśnić jakiś szczegół, odczuwał ulgę, że przestaje samemu sobie zadawać pytania bez odpowiedzi i że przenosi na kogoś innego trud pytania.

Prawda, że takie informacje nie o wiele posuwały Swanna naprzód. Wiedzieć to nie zawsze znaczy móc zapobiec; ale przynajmniej rzeczy, które wiemy, trzymamy o ile nie w rękach, to bodaj w naszej myśli, gdzie rozrządzamy nimi wedle woli, co nam daje złudzenie jakiejś nad nimi władzy.

Swann był szczęśliwy, ilekroć Charlus był z Odetą. Wiedział, że pomiędzy nią a panem de Charlus nic nie może zająć; że kiedy Charlus idzie z nią dokądś, to jedynie przez przyjaźń dla niego i że opowiedziałby mu bez trudności, co Odeta robiła. Czasem Odeta oświadczała Swannowi tak kategorycznie, że nie sposób jej widzieć go tego wieczora, robiła wrażenie, że tak jej zależy na wyjściu z domu, że dla Swanna stawało się rzeczą niezmiernej wagi, aby Charlus był wolny i mógł jej towarzyszyć. Nazajutrz, nie śmiejąc zadawać przyjacielowi zbyt wielu pytań, wyciągał go na słówka, udając, że niedobrze rozumie jego odpowiedzi; i w miarę wyjaśnień doznawał ulgi, dowiadując się, że Odeta spędziła wieczór na uciechach nad wyraz niewinnych.

— Więc jakże to, drogi Mémé, nie rozumiem dobrze... przecież nie prosto od niej poszliście do Musée Grévin? Musieliście najpierw pójść gdzie indziej Nie? Och, jakie to zabawne! Nie masz pojęcia, jak ty mnie bawisz, drogi Mémé. Ale co za dziki pomysł, żeby się wybrać potem do *Chat Noir*; tylko ona może mieć takie koncepty!... Nie? To twój pomysł? To ciekawe. Ostatecznie, niezła idea, Odeta musiała tam spotkać dużo znajomych. Nie? Nie mówiła z nikim? To nadzwyczajne. Więc siedzieliście sobie tak we dwoje? Wyobrażam was sobie! Kochamy jesteś, mój drogi Mémé, przepadam za tobą.

Swann czuł ulgę. Czasem w rozmowie z ludźmi obojętnymi, których zaledwie słuchał, zdarzało mu się usłyszeć jakieś zdanie (takie na przykład: „Widziałem wczoraj panią de Crécy, była z jakimś facetem, którego nie znam”); zdanie takie natychmiast tężało w sercu Swanna, twarzą w nim niby inkrustacja, rozdzierało je, nie dało się usunąć. Jakże słodkie przeciwnie były takie słowa: „Nie spotkała nikogo, nie rozmawiała z nikim”, jakże krążyły w nim swobodnie, jak były płynne, łatwe, orzeźwiającej! Ale po chwili powiadał sobie, że musi być dla Odety bardzo nudny, skoro to są przyjemności, które przekłada

nad jego towarzystwo! I nędza tych zabaw, o ile go uspakajała, sprawiała mu zarazem przykrość niby zdrada.

Dla uśmierzenia niepokoju, jakiego doznawał, jedynym specyfikiem była obecność Odety, słodycz życia przy niej. Specyfik ten na dłuższy dystans pogarszał chorobę, ale przynajmniej chwilowo uśmierzał ból. Ale nawet kiedy Swann nie mógł wiedzieć, dokąd Odeta idzie, wystarczyłoby, żeby mu tylko pozwoliła zostać, czekać na nią, doczekać się jej powrotu; w ukojeniu owej godziny utopić inne, które przez jakieś złośliwe urzeczenie zdawały mu się tak odmienne. Ale nie pozwalała. Wracał do domu, zmuszał się w drodze do rozmaitych projektów, przestawał myśleć o Odecie, zdołał nawet czasem, rozbierając się, nastroić się dosyć wesoło; z sercem pełnym nadziei, że jutro pójdzie obejrzeć jakieś arcydzieło, kładł się do łóżka i gasił światło; ale skoro tylko, gotując się zasnąć, przestał nakładać sobie przymus, którego nie miał nawet świadomości, tak bardzo stał mu się nawykiem — w tej chwili uczuwał w sercu jakby lodowaty dreszcz i zaczynał szlochać. Nie chciał nawet znać przyczyny tego, ocierał oczy i powiadał sobie, śmiejąc się: „Ładna rzecz, robi się ze mnie neurastenik”.

I doznawał znużenia, na myśl, że nazajutrz trzeba będzie zacząć na nowo dociekać, co robiła Odeta, rozwijać całą dyplomację, aby się ją starać zobaczyć. Ten przymus czynności bez przerwy, bez odmiany, bez rezultatów był mu tak okrutny, że jednego dnia, ujrawszy u siebie jakąś wypukłość na brzuchu, uczuł szczerą radość na myśl, że to może jest śmiertelny nowotwór, że nie będzie już potrzebował zajmować się niczym, że choroba zapanuje nad nim, że zrobi zeń swoją zabawkę aż do bliskiego końca. I w istocie, jeżeli w owej epoce zdarzało mu się często — choć się do tego przed sobą nie przyznawał — pragnąć śmierci, spodziewał się tym umknąć nie tyle przed dokuczliwością cierpień, ile przed monotonią wysiłku.

A jednak byłby chciał żyć aż do epoki, w której nie będzie już kochał Odety; kiedy nie będzie miała żadnego powodu kłamać przed nim; wówczas będzie się mógł wreszcie dowiedzieć, czy w dniu, gdy zaszedł do niej popołudniu, była w łóżku z Forchevillem? Często przez kilka dni podejrzenie, że ona kocha kogoś innego, odwracało go od problemu Forcheville’a, czyniło mu go prawie obojętnym, niby nowe formy tej samej choroby, które zdają się nas na chwilę uwalniać od poprzednich. Były nawet dni, w których Swanna nie dręczyło żadne podejrzenie. Myślał, że jest uleczony. Ale nazajutrz rano przy obudzeniu czuł w tym samym miejscu ten sam ból, którego poczucie w ciągu poprzedniego dnia rozcięńczył niejako w strumieniu innych wrażeń. Ale ból nie ruszył się z miejsca. I nawet właśnie ostrość tego bólu obudziła Swanna.

Ponieważ Odeta nie dawała mu żadnych objaśnień co do tak ważnych rzeczy, które zaprzętały ją każdego dnia, Swann — mimo iż dość długo żył, aby wiedzieć, że nie istnieją żadne ważne sprawy oprócz przyjemności — nie mógł się długo wysilać na ich uprzytomnienie: mózg jego działał w próżni. Wówczas przeciągał palce po zmęczonych powiekach, jakby przecierał szkła lornetki, i przestawał całkowicie myśleć. Pływały wszelako po owym tajemniczym morzu pewne zajęcia zjawiające się od czasu do czasu i mglisto związane przez Odetę ze zobowiązaniami wobec jej dalekich krewnych lub dawnych przyjaciół. Ponieważ były to jedyne przeszkody, które Odeta często przeciwstawiała wizytom Swanna, wydawały się mu w końcu niby stałą nieodzowną ramą życia Odety. Od czasu do czasu mówiła: „dzień, w którym idę z przyjaciółką do Hipodromu”; i to takim tonem, iż kiedy, czując się niezdrów, Swann pomyślał: „może Odeta zechciałaby zejść do mnie”, przypominał sobie nagle, że to jest właśnie ów dzień, i powiadał sobie: „Och, nie, nie warto prosić Odety, żeby przyszła; powinienem być pamiętać wcześniej; to dzień, w którym idzie z przyjaciółką do Hipodromu. Poprzestańmy na tym, co możliwe; po co walczyć o rzeczy niepodobne i skazane z góry na odmowę”. I obowiązek, jakim było dla Odety pójście do Hipodromu, wydawał mu się niewzruszony, uchylał przed nim czoła; co więcej, związana z tym obowiązkiem konieczność uprawniała niejako i usprawiedliwiała wszystko, co z bliska lub z daleka odnosiło się do tego faktu. Jeżeli na przykład na ulicy uklon przechodnia pod adresem Odety obudził zazdrość Swanna, odpowiadała na jego pytanie, wiążąc istnienie nieznanego z jednym z paru zasadniczych obowiązków, o których mu mówiła. Kiedy na przykład powiedziała: „To znajomy z loży przyjaciółki, z którą chodzę do Hipodromu”, wyjaśnienie to uspokajało Swanna. Rozumiał, że przyjaciółka musi mieć w loży innych gości oprócz Odety, ale co prawda nigdy nie silił się wyobra-

zić ich sobie. Och! Jakżeby pragnął znać ową przyjaciółkę, która bywała w Hipodromie; jakżeby pragnął, żeby go tam wzięła wraz z Odetą. Jakżeby chętnie oddał wszystkie swoje stosunki za byle jaką osobę mającą sposobność widywania Odety, choćby to była mani-kiurzystka albo panna z magazynu. Nadskakiwałby im bardziej niż jakiej królowej! Czyż nie dostarczyłyby mu przez to, że były związane z życiem Odety, jedyne gojącego środka na jego cierpienie? Z jakąż radością przebywałby u tych drobnych ludzi, z którymi Odeta zachowała stosunki, bądź z interesu, bądź przez szczerą prostotę. Z jakąż radością osiadłby na zawsze na piątym piętrze jakiegoś brudnego i upragnionego domu, dokąd Odeta nie zabierała go nigdy; mieszkając tam z ową eks-krawcową, za której kochanka zgodziłby się chętnie uchodzić, miałby prawie co dzień wizytę Odety. W owych dzielnicach niemalże ludowych rad byłby bez końca pędzić życie skromne, nędzne, ale słodkie, ale nasyczone szczęściem i spokojem.

Czasami, kiedy, spotkawszy się ze Swannem, Odeta widziała, że się do niej zbliża ktoś, kogo on nie zna, Swann mógł zauważyć na jej twarzy ten sam smutek, jaki miała w dniu jego odwiedzin w czasie bytności pana de Forcheville. Ale to było rzadkie: obecnie bowiem w dniu, kiedy mimo wszystkich swoich zajęć i mimo obaw „co o tym pomyśli świat” Odeta zgodziła się spotkać ze Swannem, w jej zachowaniu się górowała pewność siebie. Wzięcie to stanowiło wielki kontrast z jej dawną postawą; był to może nieświadomy odwet albo też naturalna reakcja nieśmiałego wzruszenia, jakie w pierwszym okresie zażyłości odczuwała wobec Swanna, a nawet z dala od niego, kiedy to zaczynała listy od tych słów: „Drogi mój, ręka mi drży tak, że ledwo mogę pisać”... (Tak twierdziła przynajmniej i trochę tego wzruszenia musiała czuć w istocie, skoro miała ochotę udawać, że go czuje więcej). Swann podobał się jej wówczas. Drży się jedynie dla siebie, jedynie przez tych, których się kocha. Kiedy nasze szczęście nie jest już w ich rękach, jakiegoż spokoju, jakiej swobody, śmiałości zażywa się będąc z nimi! Mówiąc ze Swannem, pisząc doń, Odeta nie znajdowała już owych słów, którymi starała się stworzyć sobie złudzenie, że on należy do niej, szukając sposobności powiedzenia „mój”, „ty mój”, kiedy chodziło o niego. Mawiała wówczas: „Jesteś moim szczęściem, to jest zapach naszej miłości, zachowam go na zawsze”; — o przyszłości, o śmierci nawet mówiła jako o rzeczy wspólnej dla nich dwojga. W owym czasie wszystko, co Swann mówił, budziło w niej podziw. „Ty nigdy nie będziesz taki jak wszyscy”. Patrzała na jego długą głowę, trochę łysą, o której ludzie znający sukcesy Swanna powiadali: „Nie jest klasycznie piękny, to pewna, ale jest szykowny: ten tupecik, ten monokl, ten uśmiech!” — i bardziej może ciekawa poznać, co w nim siedzi, niż spragniona zostać jego kochanką, powiadała:

— Gdybym mogła wiedzieć, co tam się kryje w tej głowie!

Teraz na każde odezwanie się Swanna odpowiadała, czasami z irytacją, czasami po-  
błażliwie:

— Och, ty już nigdy nie będziesz taki jak wszyscy!

Patrząc na tę głowę, trochę tylko postarzałą od zgryzoty (ale o której wszyscy teraz myśleli, siłą tej samej zdolności, która pozwala odgadnąć intencje symfonicznego utworu, skoro się przeczyta komentarz w programie, lub podobieństwo dziecka, kiedy się zna jego rodzinę: „Nie jest może zdecydowanie brzydki, ale jest śmieszny: ten monokl, ten tupecik, ten uśmiech!” — w ten sposób zasugestionowana wyobraźnia ogółu określała ową nieuchwytną granicę, jaka dzieli na kilkumiesięczną odległość głowę „kochanka od serca” od głowy rogowca), Odeta mówiła dziś:

— Och, gdybym ja mogła przerobić tę głowę, wlać w nią trochę rozsądku!

Zawsze gotów wierzyć w to, czego pragnął, o ile tylko postępowanie Odety zostawiało miejsce na wątpliwość, Swann rzucał się chciwie na te słowa:

— Możesz, jeżeli zechcesz — mówił.

I starał się jej wykazać, że koić go, kierować nim, zachęcać go do pracy byłoby szlachetnym zadaniem, któremu z radością poświęciłyby się inne kobiety; ale trzeba dodać, że ze strony innych kobiet owo szlachetne zadanie wydałoby mu się jedynie niedyskretnym i nieznośnym wścibstwem. „Gdyby mnie nie kochała trochę — powiadał sobie Swann — nie pragnęłaby mnie przeobrazić. Aby mnie przeobrazić, będzie musiała częściej mnie widywać”. Toteż znajdował w tej wymówce Odety jakby dowód zainteresowania, może miłości; i w istocie, dawała mu teraz tych dowodów tak mało, że trzeba mu było doszukiwać się ich w jakimś jej zakazie lub kaprysie.

Jednego dnia oświadczyła Swannowi, że nie lubi jego stangreta, że ten Remi podburza może Swanna przeciw niej, w każdym zaś razie nie przestrzega wobec swego pana tej punktualności ani tego szacunku, jakich by ona sobie dla niego życzyła. Czuli, że Swann pragnął usłyszeć z jej ust: „Nie bierz go nigdy, kiedy przyjeżdżasz do mnie” — tak jakby pragnął pocałunku. Ponieważ była w dobrym humorze, powiedziała to; Swann rozczulił się. Wieczorem, rozmawiając z panem de Charlus, z którym ku swojej rozkoszy mógł mówić o kochance otwarcie (wszystko bowiem, co mówił, nawet z osobami, które nie znały Odety, odnosiło się poniekąd do niej), rzekł:

— Ja jednak myślę, że ona mnie kocha; jest ze mną taka milutka, czuć, że to, co robię, nie jest jej obojętne.

I jeżeli w chwili, gdy miał jechać do Odety, siadał do powozu z przyjacielem, którego miał gdzieś podwieźć, a przyjaciel rzekł: „Cóż to, nie Lorédan na koźle?”, z jakąż melancholijną radością Swann odpowiadał:

— Ha, ha! Rozumie się, że nie. Powiem ci: nie mogę brać Lorédana, kiedy jadę na ulicę La Pérouse. Odeta nie lubi Lorédana; wydaje się jej nie dość szykowny dla mnie, słowem, cóż chcesz, kobiety, rozumiesz! Wiem, że to by ją bardzo zirytowało. Ohoho! Niechbym tylko pokazał się z Remim, ładnie bym wyglądał!

Ten nowy ton — obojętny, roztargniony, niecierpliwy — jaki miewała z nim teraz Odeta, niewątpliwie sprawiał Swannowi ból; ale nie miał świadomości swojego cierpienia. Oziębienie Odety w stosunku do niego przyszło stopniowo, dzień po dniu; toteż dopiero porównując, jaka jest dziś, a jaka była w początkach, mógłby zmierzyć rozmiar odmiany. Otóż ta odmiana to była jego głęboka, tajemna rana, która go bolała w dzień i w nocy; i z chwilą, kiedy czuł, że jego myśli zanadto się zbliżają do Odety, żywo kierował je w inną stronę, z obawy zbytniego cierpienia. Powiadał sobie wprawdzie ogólnikowo: „Był czas, że Odeta bardziej mnie kochała”; ale nigdy nie uprzytomniał sobie tego czasu. Miał w swoim gabinecie sekretarzyk, na który starał się nie patrzeć, który omijał wchodząc i wychodząc, dlatego że w szufladzie sekretarzyka był schowany złocien, który Odeta dała mu pierwszego ich wieczora, i listy, w których mówiła: „Czemu pan nie zapomniał u mnie swojego serca, nie oddałabym go panu”; i jeszcze: „O którejkolwiek porze dnia i nocy będzie mnie pan potrzebował, niech mi pan da znak, niech pan rozporządza moim życiem”; podobnie w nim samym było miejsce, do którego nigdy nie pozwalał się zbliżyć swojej myśli, każąc jej robić krąg długich rozumowań, byle nie musiał przechodzić tamtędy: było to miejsce, w którym żyła pamięć szczęśliwych dni.

Ale wszystkie te wyrafinowane ostrożności obróciły się w niwecz jednego wieczora, kiedy poszedł między ludzi.

Był to ostatni tegoroczny wieczór pani de Saint-Euverte; na tych wieczorach margrabina produkowała artystów, służących jej potem na koncerty dobroczynne. Swann, który wybierał się kolejno na wszystkie poprzednie rauty margrabiny i nie mógł się wybrać, stroił się właśnie, kiedy doń zaszedł — idąc właśnie stamtąd — baron de Charlus. Charlus ofiarował się wrócić ze Swannem do margrabiny, o ile jego towarzystwo może mu trochę złagodzić nudę i smutek. Ale Swann odpowiedział:

— Nie wątpisz o przyjemności, jaką sprawiałoby mi być z tobą. Ale największą przyjemność zrobiłbyś mi, gdybyś poszedł raczej do Odety. Wiesz, jaki ty masz na nią doskonały wpływ. Zdaje mi się, że ona nie wychodzi dziś wieczór przed pójściem do swojej dawnej krawcowej, dokąd zresztą chętnie cię weźmie. W każdym razie zastaniesz ją przedtem w domu. Staraj się ją rozerwać, a także przemówić jej do rozsądku. Gdybyś mógł zorganizować na jutro coś, co by jej przypadło do gustu i co moglibyśmy zrobić we troje! Staraj się też wy badać grunt na lato; czy ona miałaby na coś ochotę — jakaś wycieczka jachtem, którą moglibyśmy odbyć we troje, czy ja wiem co? Co do dzisiejszego wieczora, nie spodziewam się widzieć Odety; ale gdyby ona sobie tego życzyła albo gdybyś wpadł na jakiś pomysł, prześlij ma tylko słówko do pani de Saint-Euverte do północy, a potem do mnie do domu. Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie robisz; wiesz, jak cię kocham.

Baron przyrzekł Swannowi spełnić jego życzenia. Odprowadził go pod sam dom pani de Saint-Euverte, dokąd Swann przybył uspokojony myślą, że Charlus spędzi wieczór przy ulicy La Pérouse, ale pogrążony w melancholijnej obojętności na wszystko, co nie tyczyło Odety, w szczególności na sprawy światowe. Dawało im to urok czegoś, co, nie będąc już przedmiotem naszej woli, objawia się nam we własnej istocie. Wy-

siadłszy z powozu, na pierwszym planie tego fikcyjnego skrótu domowego życia, jaki pani domu prezentuje gościom w uroczyste dni (starając się uszanować prawdę kostiumu i dekoracji), Swann z przyjemnością oglądał spadkobierców balzakowskich tigre'ów, groomów, zwyczajną asystę spacerów, którzy w kapeluszach i w butach z cholewami stali na chodniku przed pałacem lub przed stajnią niby ogrodnicy, których by ustawiono dokoła klombów. Osobliwe upodobanie Swanna w tym, aby szukać analogii między żyjącymi istotami a portretami z muzeów, funkcjonowało w nim jeszcze, ale w sposób bardziej konsekwentny i ogólny; całe życie światowe — teraz, kiedy się od niego oddalił — przedstawiało mu się jako szereg obrazów. Dawniej, kiedy był światowcem, wchodził do sieni w palcie, aby przejść stamtąd do salonu we fraku, zaledwie świadom tego, co się działo przez ową chwilę, będąc myślą albo jeszcze na zabawie, z której przybywał, albo już na tej, na którą spieszył. Pierwszy raz zauważył teraz zbudzoną niespodzianym przybyciem zapóźnionego gościa, rozsypaną, wspaniałą i beczynną sforę roślących lokajów, którzy drzemali tu i ówdzie na ławkach i skrzyniach i którzy, podnosząc swoje szlachetne, ostre profile chartów, wyprostowali się i skupieni utworzyli krąg dokoła niego.

Jeden, o szczególnie srogiej minie, dość podobny do kata na niektórych renesansowych obrazach przedstawiających egzekucje, posunął się z nieubłaganą twarzą, aby zdjąć ze Swanna palto. Jego twarde, stalowe spojrzenie łagodziła miękkość nicianych rękawiczek, tak iż, zbliżając się do Swanna, objawiał jak gdyby wzgardę dla osoby, a szacunek dla kapelusza. Wziął ten kapelusz z uwagą, której numer jego rękawiczek dawał coś drobiazgowego, i z delikatnością wzruszającą niemal wobec wyraźnych oznak jego siły. Następnie podał kapelusz jednemu ze swoich adiutantów; ten — zastrachany nowicjusz — dawał wyraz swemu załęknienu, tocząc na wszystkie strony wściekłym wzrokiem, niespokojny niby schwyte zwierzę w pierwszych godzinach niewoli.

O kilka kroków dalej rosły drab w liberii marzył, nieruchomy, posągowy, beużyteczny, jak ów czysto dekoracyjny wojownik, którego się widzi na najburzliwszych obrazach Mantegny, jak duma wsparty na tarczy, gdy wszystko pędzi i wyrzyna się dokoła niego. Odlączywszy się od grupy swoich kolegów, którzy cisnęli się koło Swanna, zdawał się równie zdecydowany nie brać udziału w tej scenie, co gdyby to była rzeź niewiniątek lub męczeństwo świętego Jakuba. Znajdował się tam niby typ owej zaginionej rasy — może nigdy nieistniejącej poza San Zeno oraz freskami w Eremitani, gdzie Swann ją poznał i gdzie ona marzy jeszcze — wyległej z zapłodnienia starożytnego posągu przez jakiś padewski model Mistrza lub przez jakiegoś Saksończyka z Alberta Dürera. Pasma jego rudych włosów, krętych z natury, ale zlepionych pomadą, były modelowane szeroko niby w rzeźbie greckiej, którą studiował bez przerwy malarz mantuański i która, widząc w świecie jedynie człowieka, umie wydobyć z jego prostych form tyle bogactw, czerpiąc je, można by rzec, z całej żywej natury, tak iż włosy w gładkiej fali i w ostrych dziobach pukli lub w spiętrzeniu potrójnego i kwitnącego diademem ich zwojów, stają się podobne równocześnie do pęku alg, do gniazda, do plectionki hiacyntów i do splotów węża.

Inni wreszcie, również kolosalni, stali na monumentalnych schodach, którym ich dekoracyjna i marmurowa nieruchomość mogły, jak schodom pałacu dożów, zyskać nazwę: „Schody Olbrzymów”. Swann wstępował na nie ze smutną myślą, że Odeta nigdy nie szła tamtędy. Ach! Z jakąż rozkoszą byłby się zamiast tego wspinał na ciemne, śmierdzące, karkołomne schody krawcowej, na której piątym pięterku z radością opłacałby drożej niż abonament w Operze prawo spędzania wieczoru w czasie wizyty Odety, a nawet w inne dni, aby móc mówić o niej, żyć z ludźmi, których ona zwykła była widywać w jego nieobecności i którzy przez to samo ucieleśniali dla Swanna bardziej rzeczywistą, niedostępną i tajemniczą część życia kochanki. Podczas gdy na owych cuchnących i upragnionych schodach eks-krawcowej (nie było tam kuchennych schodów) widniała wieczór przed każdymi drzwiami na słomiance pusta i brudna blaszanka na mleko, tu, na wspaniałych i obojętnych schodach, na które Swann wstępował w tej chwili, po obu stronach, na różnych wysokościach, przed każdym zagłębieniem, które tworzyła w ścianie łoża odźwiernego lub drzwi apartamentu, stali — reprezentując poszczególne resorty i składając hołd gościom — odźwierny, marszałek dworu, kredencarz. Zadni ci ludzie żyli przez resztę tygodnia prawie że niezawisli, każdy w swojej dziedzinie, jadaliby u siebie jak lada sklepikarz i jutro mogli obsługiwać mieszczańskie przyjęcie u lekarza lub przemysłowca; ale tu, baczni, aby nie chybić rozkazom otrzymanym przed włożeniem lśniącej

liberii (oblekali ją jedynie w rzadkich momentach i nie czuli się w niej zbyt swobodnie), stali pod sklepieniem portalów niby święci w swoich niszach, w pompatycznym blasku złagodzonej ludową dobroduszością. Olbrzymi szwajcar, ubrany jak w kościele, uderzał laską o kamienne płyty za pojawieniem się każdego gościa. Przybywszy na szczyt schodów, po których szedł za nim lokaj o wyblakłej twarzy, z ogonkiem włosów związanych w harcap z tyłu, niby zakrystian Goy'i lub piszczyk w klasycznym teatrze, Swann minął rodzaj biura, gdzie lokaje, siedząc na kształt rejentów przed wielkimi rejestrami, zerwali się i wpisali jego nazwisko. Wówczas Swann przebył niedużą sien, gdzie u wejścia — niby jakiś cenny obraz Benvenuto Cellini przedstawiający człowieka na straży — stał młody lokaj z ciałem lekko podanym naprzód. Nad jego czerwonym kołnierzem błyszczała jeszcze czerwiejsza twarz, z której tryskały strumienie ognia, nieśmiałości i zapалу; jego namiętne, czujne, zropaczone spojrzenie przeszywało ciężkie portiery salonu, gdzie słuchano muzyki; robił wrażenie, iż z żołnierską nieustraszoną lub z nadprzyrodzoną wiarą — istne wcielenie alarmu, oczekiwania, gotowości do walki — śledzi, niby anioł lub sztyldwach, z baszty lub z katedry, pojawienie się wroga lub godzinę Sądu. Obecność jego czyniła z owej sieni niby komnatkę przeznaczoną przez właściciela za ramę jednemu tylko arcydziełu, od którego bierze swoją nazwę, nie zawierając w swojej umyślnej nagości nic więcej. Pozostawało Swannowi jedynie wniknąć w salę koncertową, do której drzwi otwierał mu strojny łańcuchem odźwierny, z ukłonem takim, jakby mu wręczał klucze miasta. Ale Swann myślał o domu, gdzie mógłby się znajdować w tej chwili, gdyby Odeta pozwoliła; wizja pustej blaszanki na mleko na słomiance ścisnęła mu przez chwilę serce.

Swann odzyskał szybko poczucie męskiej brzydoty, kiedy za portierą, po widoku lokajów nastąpił widok gości. Ale brzydota twarzy, które znał przecież tak dobrze, zdawała mu się nowa od chwili, jak ich rysy — zamiast być cechami rozpoznawczymi osób dotąd wcielających dla Swanna zbiór możliwych przyjemności, przykrości lub zobowiązań towarzyskich — odzyskały autonomię swoich linii, poddanych jedynie prawidłom estetyki. W gromadzie mężczyzn, pośród których się znalazł, nawet monokle, które nosiło wielu z nich (dawniej pozwoliłoby to Swannowi co najwyżej stwierdzić, że noszą monokle), obecnie, straciwszy cechę wspólnego zwyczaju, uderzyły go różniczkowaniem indywidualności. Spojrzał na generała de Froberville i na margrabiego de Bréauté rozmawiających z sobą opodal drzwi; przez długi czas byli to dla Swanna użyteczni przyjaciele, którzy go wprowadzili do Jockey-clubu i sekundowali mu w pojedynkach; w tej chwili patrzył na nich jak na dwie figury na obrazie. Monokl generała, utkwiony niby odprysk granatu w jego pospolitej, posiekanej i tryumfalnej twarzy, między powiekami, w pół czoła, na którym błyszczał jak jedyne oko cyklopa, wydał się Swannowi potworną raną, którą było może zaszczytnie otrzymać, ale nieprzyzwoicie pokazywać; podczas gdy poza monoklem pana de Bréauté, uzupełniającym odświętność perłowych rękawiczek, szapokłaka, białego krawata i zastępującym mu (jak i Swannowi, gdy szedł na proszony wieczór) codzienne binokle, widniało, przylepione do odwrotnej strony szkła — niby preparat pod mikroskopem — spojrzenie nieskończenie drobne, iskrzące się uprzejmością, uśmiechające się bez przerwy do wysokości stropów, do blasku zabawy, bogactwa programu i jakości chłodziaków.

— A, to pan, ależ od wieków nie widzi się pana! — rzekł do Swanna generał, który, zauważwszy jego wymizerowanie i wnosząc, że to może jakaś choroba oddala go od świata, dodał: „Dobrze pan wygląda!”. Równocześnie pan de Bréauté pytał kogoś:

— Ależ, drogi panie, co pan może robić tutaj?

Pytanie to zwracało się do światowego powieściopisarza, który właśnie wsadził w oko monokl, jedyny organ swojej psychologicznej introspekcji i bezlitosnej analizy, i odpowiedział z ważną i tajemniczą miną zwielokrotniając głoskę r:

— Obserrhuję.

Monokl margrabiego de Forestelle był maleńki i bez oprawy; wpijał się w oko niby zbyt duża, niewytłumaczona chrząstka z rzadkiego materiału, zmuszając jej posiadacza do nieustannego i bolesnego skurczu, który znaczył twarz margrabiego delikatną melancholią i dawał mu w oczach kobiet opinię człowieka zdolnego do głębokich cierpień miłosnych. Monokl znowuż pana de Saint-Candé, okolony jak Saturn potężnym pierścieniem, stanowił centrum powagi twarzy, wciąż orientującej się pod jego kątem — twarzy, na której drgający i czerwony nos oraz mięsiste i sarkastyczne usta starały się grymasami

dostroić do ogników dowcipu ożywiających szklany krążek, nawykły rywalizować zwycięsko z najpiękniejszymi oczami wobec młodych i zepsutych snobek, w których rozdził marzenia o wyrafinowanych i perwersyjnych rozkoszach. Poza swoim monoklem, z wielką głową karpia i okrągłymi oczami, pan de Palancy krążył z wolna wśród sal balowych; rozwierając od czasu do czasu szczęki jak gdyby szukając kierunku i robiąc wrażenie, że nosi z sobą jedynie przygodny, może czysto symboliczny fragment szyby swojego akwarium, część mającą wyobrażać całość, przypominającą Swannowi, admirałowi *Przywar i Cnót* Giotta w Padwie, owego Grzesznika, koło którego okryta liśćmi gałąź przypomina lasy, gdzie kryje się jego jaskinia.

Zachęcony przez panią de Saint-Euverte, Swann podszedł bliżej. Aby posłuchać arii z Orfeusza wykonywanej na flecie, stanął w kącie, gdzie miał niestety jako jedyny widok dwie dojrzałe już damy siedzące obok siebie, margrabinę de Cambremer i wicehrabinę de Franquetot. Panie te, skuzynowane z sobą, obnosząc po wieczorach swoje torebki i wlokąc swoje córki, szukały się bez ustanku wzajem niby na dworcu kolejowym i uspokajały się dopiero wówczas, kiedy wachlarzem lub chusteczką założyły dwa sąsiadujące miejsca. Pani de Cambremer, mało ustosunkowana, szczęśliwa była, że posiada towarzyszkę w pani de Franquetot; ta znowuż, szeroko „bywająca”, znajdowała coś wykwintnie oryginalnego w tym, aby pokazać wszystkim świetnym znajomościom, iż przekłada nad nie skromną osobę, z którą łączy ją wspomnienia młodości.

Pełen ironicznej melancholii, Swann patrzył na te damy, jak słuchają fortepianowego intermedium Liszta — „Święty Franciszek przemawiający do ptaków” — które nastąpiło po arii fletowej, i jak śledzą zawrotną grę pianisty. Pani de Franquetot spoglądała trwożliwie, z wylęknionymi oczami, jak gdyby chyżo przebiegane przez artystę klawisze były szeregiem trapezów, z których mógł spaść z wysokości osiemdziesięciu metrów; co jakiś czas rzucała na sąsiadkę wzrok pełen zdumienia, powątpiewania, jakby mówiąc: „To nie do wiary, nigdy nie byłabym przypuszczała, że człowiek może to zrobić”. Pani de Cambremer, osoba wysoko kształcona w muzyce, wybijała takt głową zmienioną w wahadło metronomu, z owym nieprzytomnym wyrazem właściwym cierpieniu, które nie wie już samo, co czyni i nie sili się zapanować nad sobą, powiadając niejako: „Trudno!”. Amplituda i szybkość owych wahań dochodziły do tego, że pani Cambremer co chwila zaczęła brylantowymi kolczykami o hafty u stanika i — nie przestając mimo to przyspieszać ruchu — musiała poprawiać czarne winogrona strojące jej fryzurę.

Z drugiej strony pani de Franquetot, ale trochę ku przodowi, siedziała margrabina de Gallardon, pochłonięta swoją ulubioną myślą: pokrewieństwem z Guermantami. Z pokrewieństwa tego czerpała dla świata i dla siebie wiele chwały z odrobiną wstydu, ile że najświetniejsi z Guermantów raczej stronili od niej, może dlatego, że była nudna lub zła, lub z gorszej linii, wreszcie może bez żadnej przyczyny. Kiedy się znalazła obok kogoś obcego (jak w tej chwili obok pani de Franquetot), cierpiała nad tym, że własna jej świadomość pokrewieństwa z Guermanatarni nie może się uzewnętrznić widzialnymi znakami jak te, które obok świętej osobistości w mozaikach bizantyjskich kościołów kreślą w pionowej kolumnie wymawiane jakoby przez Świętego słowa. Myślała w tej chwili, że nigdy się nie doczekała zaproszenia ani wizyty od młodej krewniaczki, księżnej des Laumes, od sześciu lat zamężnej. Ta myśl napępiała ją gniewem, ale także dumą; tak długo bowiem powtarzała osobom dziwiącym się jej nieobecności u księżnej des Laumes, że nie chce się narażać na spotkanie tam księżniczki Matyldy — czego by ultra-legitymistyczna rodzina nigdy jej nie darowała — aż uwierzyła w końcu, że to jest naprawdę powód, dla którego nie bywa u kuzynki. Przypominała sobie wprawdzie, że kilka razy zagadywała panią des Laumes, przymawiając się o zaproszenie, ale przypominała to sobie jedynie mglisto; neutralizowała zresztą całkowicie owe nieco upokarzające wspomnienie, szepcząc: „Ostatecznie, nie do mnie należy zrobić pierwszy krok; jestem o dwadzieścia lat starsza”. Pod wpływem tego wewnętrznego głosu dumnie odrzucała w tył odcinające się od biustu ramiona, na których głowa jej, spoczywająca niemal poziomo, przypominała głowę wspaniałego bażanta podanego na stół ze wszystkimi piórami. I mimo iż z natury była przysadkowata i tłusta, fumi i afronty wyprostowały ją niby drzewo, które, zrodzone w ryzykownej pozycji nad przepaścią, zmuszone jest dla utrzymania równowagi rosnąć wstecz. Aby się pocieszyć, iż nie jest całkowicie równa innym Guermantom, pani de Gal-

lardon musiała sobie wciąż powtarzać, że jeżeli ich nie widuje, to przez niewzruszoność swoich zasad i przez dumę; aż w końcu ta myśl urobiła jej ciało i dała jej wzięcie, które uchodziło w oczach kobiet „nieurodzonych” za oznakę rasy i mąciło czasem przelotną żądzą zblazowane spojrzenia klubowców. Gdyby poddać konwersację pani de Gallardon owej analizie, która, stwierdzając częstotliwość poszczególnych wyrażen, pozwala odkryć klucz do szyfrowanego języka, spostrzegłoby się, że żaden nawet najpospolitszy zwrot nie powtarzał się w jej ustach równie gęsto jak „u moich kuzynów de Guermantes”, „u ciotki Guermantes”, „zdrowie Elzeara de Guermantes”, „łoża mojej kuzynki de Guermantes”. Kiedy ktoś przy niej mówił o jakiejś znamienitej figurze, odpowiadała, że nie zna jej osobiście, ale że ją spotykała tysiąc razy u ciotki Guermantes; a mówiła to tak lodowato i głosem tak bezdźwięcznym, iż jasne było, że jeżeli nie zna tej osoby, to przez szacunek dla wszystkich owych niewzruszonych i upartych zasad, których ramiona jej dotykały wstecz, niby szczebli drabinki stosowanej przez nauczycieli gimnastyki dla wyrobienia klatki piersiowej.

Otóż księżna des Laumes, której nie spodziewano by się ujrzeć u pani de Saint-Euverte, przyszła właśnie. Aby pokazać, że w salonie, do którego przychodziła jedynie z łaski, nie pragnie dać odczuć swojej pozycji, weszła ściągając ramiona nawet tam, gdzie nie było tłoku i gdzie nie potrzebowała nikogo przepuszczać, przystając umyślnie z tyłu, jak gdyby tam czuła się na swoim miejscu, niby jakiś król w ogonku przed teatrem, o ile władze nie były uprzedzone, że on tam jest. Ograniczając skromnie spojrzenia — aby się nie zdawało, że oznajmia swoją obecność i domaga się względów — do oglądania wzoru na dywanie lub własnej spódnicy, księżna stała obok nieznannej jej pani de Cambremer, w miejscu, które się jej zdawało najskromniejsze, wiedząc dobrze, że okrzyk zachwyty wyrwie ją stamtąd, skoro tylko gospodyni ją spostrzeże. Obserwowała mimikę sąsiadki, ale jej nie naśladowała. Nie znaczy to, aby raz zjawiwszy się na pięć minut u pani Saint-Euverte, księżna des Laumes nie pragnęła się okazać możliwie najmilszą, chcąc, by uprzejmość jej liczyła się podwójnie. Ale zarazem miała z natury wstręt do tego, co nazywała „przesadą”; chciała pokazać, że nie uważa za właściwe oddawać się ekspansjom niebędącym w stylu jej koterii; z drugiej zaś strony ekspansje te robiły na niej wrażenie, dzięki owemu duchowi naśladownictwa — spowinowacnemu z nieśmiałością — jaki u ludzi najbardziej pewnych siebie rodzi klimat nowego, choćby niższego środowiska. Księżna zaczynała pytać sama siebie, czy ta gestykulacja nie jest w związku z utworem granym w tej chwili, a niemieszczącym się może w ramach muzyki, którą miała sposobność słyszeć dotąd; nie wiedziała, czy wstrzymać się od tej gestykulacji nie będzie dowodem niezrozumienia dzieła i nietaktu wobec pani domu. W rezultacie, aby wyrazić swoje sprzeczne uczucia, księżna to obciążała ramiączka u sukni, umacniała w blond włosach kuleczki koralu lub z różowej emalii, oszedziałe diamentkami i tworzące prosty i uroczy strój głowy (czyniąc to, przyglądała się z chłodną ciekawością swojej rozentuzjasmowanej sąsiadce); to znów wybijała przez chwilę takt wachlarzem, ale — aby nie abdykować ze swojej niezależności — nie w takt.

Kiedy pianista skończył Liszta i zaczął preludium Chopina, pani de Cambremer rzuciła pani de Franquetot uśmiech roztkliwiony kompetentnym zadowoleniem i aluzją do przeszłości. Nauczyła się za młodu pieścić frazy Chopina, owe frazy o długiej, krętej i wyszukanej linii, tak swobodne, tak giętkie, tak chwytne, szukające sobie miejsca kędyś bardzo daleko od swego początkowego kierunku, daleko od punktu, gdzie można się było ich spodziewać; frazy igrające na falach kaprysu jedynie po to, aby wrócić tym świadomie, z tym wyrafinowaną<sup>23</sup> precyzją, niby ślizgając się po kryształach dźwięcznym aż do potrzeby krzyku — i ugodzić was w samo serce.

Żyjąc na prowincji, gdzie miała niewiele stosunków, nie bywając prawie na balach, pani de Cambremer upajała się w swoim samotnym dworze, to zwalniając, to przyspieszając taniec wszystkich owych urojonych par, obrywając je niby kwiaty, opuszczając na chwilę bal, aby słuchać, jak wiatr dmie w świerkach nad jeziorem i widzieć nagle zbliżającego się, różnego od wszystkich marzonych kochanków, szczupłego młodzieńca w białych rękawiczkach, o śpiewnym nieco, obcym i fałszywym głosie. Ale dzisiaj niemodna już piękność tej muzyki zdawała się przywiędła. Pozbawiona od kilku lat uznania

<sup>23</sup>wyrafinowańszy — dziś popr.: najbardziej wyrafinowany. [przypis edytorski]



znawców, straciła swój blask i wdzięk i nawet ludzie mający zły gust znajdowali w niej już tylko wątpliwą i słabą przyjemność. Pani de Cambremer spojrzała ukradkiem za siebie. Wiedziała, że jej młoda synowa (pełna szacunku zresztą dla nowej rodziny, z wyjątkiem rzeczy, na które — uczona nawet w harmonii i nawet w greczyźnie — miała specjalne poglądy) gardzi Chopinem i cierpi, kiedy go ktoś gra. Ale z dala od nadzoru tej wagnerianki, która stała opodal w grupie młodych kobiet, pani de Cambremer poddawała się rozkoszy swoich wrażeń. Księżna des Laumes doznawała ich również. Niezbyt muzykalna z natury, brała przed piętnastu laty lekcje, które pewna genialna artystka blisko siedemdziesięcioletnia, znalazłszy się pod koniec życia w nędzy, zaczęła na nowo dawać córkom i wnuczkom dawnych swoich uczennic z faubourg Saint-Germain. Nie żyła już. Ale jej metoda, jej piękny ton, odradzały się niekiedy pod palcami uczennic, nawet tych, które zostały na resztę życia istotami miernymi i które, porzuciwszy muzykę, nie otwierały prawie fortepianu. Toteż pani des Laumes mogła potrząsać głową z niejaką znajomością rzeczy, z trafną oceną sposobu, w jaki pianista grał owo preludium, które umiała na pamięć. Koniec rozpoczętej frazy sam z siebie zaśpiewał na jej wargach. I szepnęła: „to zawsze prześliczne” z owym „prze” na początku wyrazu, będącym oznaką subtelności, muskającym romantycznie jej wargi niby piękny kwiat. Instynktownie księżna stonowała swoje oczy z ustami, dając im w tej chwili jakąś sentymentalną mgiełkę.

Tymczasem pani de Gallardon ubolewała w duchu, że tak rzadko ma sposobność spotykać księżnę des Laumes, bo pragnęła dać nauczkę kuzynce, nie odkładając się jej. Nie wiedziała, że właśnie jest tutaj. Ruch głowy pani de Franquetot odsłonił jej księżnę. Natychmiast rzuciła się ku niej, potrącając sąsiadów; ale pragnąc zachować lodowatą wyniosłość przypominającą wszystkim, że nie życzy sobie stosunków z osobą, u której można się nos w nos spotkać z księżniczką Matyldą Bonaparte i której ona, pani de Gallardon, nie chce robić awansów, nie będąc „z jej rocznika”, chciała zarazem zrównoważyć ten dumny chłód jakimś słowem, które by usprawiedliwiło jej krok i zmusiło księżnę do rozmowy. Toteż znalazłszy się w obliczu kuzynki, z surową twarzą, z ręką sztywno wyciągniętą pani de Gallardon wyrzekła: „Jak się ma twój mąż?” głosem równie stroskanym, co gdyby książę był poważnie chory. Księżna parsknęła owym właściwym jej śmiechem, mającym równocześnie pokazać innym, że sobie drwi z kogoś, a także podkreślić jej urodę skupioną w tej chwili w blasku ożywionych ust i błyszczących oczu. Odparła:

— Ależ świetnie!

I zaśmiała się jeszcze raz. Tymczasem pani de Gallardon, prostując talię i ochładzając wyraz twarzy, ale niespokojna jeszcze o zdrowie księcia, rzekła:

— Oriano — (tu pani des Laumes spojrzała ze zdziwioną i roześmianą miną na niewidzialną osobę trzecią, wobec której zdawała się stwierdzać, że nigdy nie upoważniła pani de Gallardon do nazywania jej po imieniu) — bardzo by mi zależało na tym, abyś przyszła do mnie na chwilę jutro wieczór posłuchać kwintetu z klarnetem Mozarta. Chciałabym usłyszeć twoje zdanie.

Można by rzec, że pani de Gallardon nie zaprasza do siebie, ale prosi o przysługę, że potrzebuje zdania księżnej o kwintecie Mozarta, jakby to była potrawa przyrządzona przez nową kucharkę, co do której talentów chce się zasięgnąć opinii smakosza.

— Ależ ja znam ten kwintet, mogę ci od razu powiedzieć... że go lubię.

— Mój mąż, wiesz, nie bardzo ze zdrowiem... wciąż ta wątroba... to by mu sprawiło wielką przyjemność ujrzeć cię — podjęła pani de Gallardon, narzucając teraz księżnej swój wieczór niby obowiązek miłości bliźniego.

Księżna nie lubiła komuś mówić, że nie ma ochoty bywać u niego. Codziennie rozsylała jakieś ubolewania, że wskutek niespodziewanego przyjazdu teściowej albo zaproszenia szwagra, abonamentu w Operze, wycieczki na wieś, musi się wyrzec wieczoru, na który nigdy nie śniłoby się jej iść. Dawała w ten sposób wielu ludziom miłe złudzenie, że są z nią w stosunkach, że byłaby chętnie do nich przyszła, że stanęły jej na przeszkodzie jedynie jakieś dostojne przeszkody, które pochlebiały wzgardzonym jako konkurencja dla ich wieczoru. Zarazem księżna należała do owej duchowej koterii Guermantów, gdzie przechowało się coś z lotnego ducha wyzwolonego z komunalów i banalności; z owego dowcipu, który pochodzi od Mériméego, a którego tradycje utrwalili w teatrze Meilhac i Halévy; stosowała go nawet do stosunków towarzyskich, wkładała go nawet w swoją grzeczność, starając się ją uczynić pozytywną, ścisłą, zbliżyć ją do skromnej prawdy. Nie

rozwijała obszernie wobec pani domu swojej chęci wzięcia udziału w jej wieczorze; uważała za uprzejmiejsze przedłożyć parę drobnych faktów, od których zależy możliwość jej przybycia.

— Słuchaj, powiem ci — rzekła do pani de Gallardon — jutro wieczór muszę być u przyjaciółki, która zaprosiła mnie od dawna. Jeżeli nas weźmie do teatru, nie będę, mimo najlepszej woli, mogła przyjść do ciebie; ale jeżeli zostaniemy u niej, będę się mogła wymknąć, bo wiem, że będziemy sami.

— Czy widziałaś swego przyjaciela, pana Swanna?

— Ależ nie, nie wiedziałam, że ten najmilszy Lolo jest tutaj, muszę zakrzętać się, żeby mnie spostrzegł.

— To zabawne, że on bywa u starej Saint-Euverte — rzekła pani de Gallardon. — Och, ja wiem, że on jest inteligentny — (dodała, chcąc przez to powiedzieć: „sprytny”) — ale i tak, Żyd u siostry i bratowej dwóch arcybiskupów!

— Wyznaję ze wstydem, że mnie to jakoś nie gorszy — rzekła księżna des Laumes.

— Wiem, że on jest chrzczony, a nawet jego rodzice i dziadkowie też. Ale powiadają, że przechrzta pozostaje tym bardziej przywiązany do swojej religii, że to tylko finta... Czy to prawda?

— Nie mam żadnej kompetencji w tym przedmiocie.

Pianista, który miał w programie dwa utwory Chopina, skończywszy preludium, zaczął natychmiast poloneza. Ale od czasu, jak pani de Gallardon zasygnalizowała kuzynce obecność Swanna, Chopin mógłby zmartwychwstać i zagrać osobiście wszystkie swoje dzieła, bez nadziei uwagi pani des Laumes. Należała ona do jednej z dwóch połów ludzkości, u której ciekawość drugiej połowy w stosunku do osób jej nieznanymi zastąpiona jest zainteresowaniem dla osób, które zna. Jak dla wielu kobiet z faubourg Saint-Germain obecność w jakimś miejscu kogoś z jej koterii — komu zresztą nie miała nic specjalnie do powiedzenia — pochłaniała wyłącznie jej uwagę, kosztem wszystkiego innego. Od tej chwili w nadziei, że Swann ją zauważy, księżna, niby oswojona biała myszka, której się to podaje, to cofa kawałek cukru, zwracała twarz zapisaną tysiącem porozumiewawczych znaków bez związku z nastrojami szopenowskiego poloneza, jedynie w kierunku Swanna; a kiedy Swann zmienił miejsce i ona przemieszczała równolegle swój magnetyczny uśmiech.

— Oriano, nie gniewaj się — podjęła pani de Gallardon, która się nie mogła nigdy wstrzymać, aby nie poświęcić swoich największych nadziei towarzyskich oraz żądy przyszłego olśnienia świata dla cichej, bezpośredniej i prywatnej rozkoszy powiedzenia komuś czegoś niemiłego — są ludzie, którzy utrzymują, że ten Swann to ktoś, kogo nie można przyjmować, czy to prawda?

— Ależ... musisz dobrze wiedzieć, że to prawda — odpaliła księżna — skoro go zapraszałaś pięćdziesiąt razy, a on nigdy nie przyszedł.

Opuszczając zmaltretowaną kuzynkę, parsknęła na nowo śmiechem. Śmiech ten zgorzszył osoby słuchające muzyki, ale ściągnął uwagę pani de Saint-Euverte, która stała przez grzeczność przy fortepianie i dopiero wówczas spostrzegła księżnę. Pani de Saint-Euverte była wzruszona widokiem pani des Laumes tym bardziej, iż sądziła, że księżna jest jeszcze w Guermentes i pielęgnuje chorego teścia.

— Jak to, księżno, pani była tutaj?

— Tak, przycupnęłam sobie w kąciку, aby słuchać pięknych rzeczy.

— Co, księżna jest tutaj od dłuższego czasu?

— Ależ tak, od bardzo długiego czasu, który mi się wydawał bardzo krótki; długi chyba dlatego, że opóźnił chwilę ujżenia pani.

Pani de Saint-Euverte chciała podsunąć fotel księżnej, która odparła:

— Ależ za nic! Po co? Jest mi dobrze gdziekolwiek.

I, aby tom lepiej podkreślić iswoją prostotę wielkiej damy, wskazała mały tabu'ret.

— Ten puf to wszystko, czego mi trzeba. Będę się na nim musiała trzymać prosto. Och, Boże, znów robię hałas, przeklną mnie.

Tymczasem pianista przyspieszał tempo, spazm muzyki dosięgał szczytu, lokaj obnosił na tacy chłodniki, dzwoniąc łyżeczkami, i jak co tydzień pani de Saint-Euverte dawała mu na próżno znaki, żeby sobie poszedł. Jakaś świeżo upieczona męzatka, którą nauczone, że

młoda kobieta nie powinna mieć zblazowanej miny, uśmiechała się błogo i szukała oczami pani domu, aby spojrzeniem wyrazić jej wdzięczność, że „dała jej uczestniczyć” w takiej uczcie. Jednakże, mimo iż spokojniej niż pani de Franquetot, nie bez emocji śledziła bieg utworu; ale niepokój jej miał za przedmiot nie tyle pianistę ile fortepian, na którym świeca podskakiwała przy każdym fortissimo, grożąc jeżeli nie podpaleniem abażuru, to przynajmniej poplamieniem palisandru. W końcu nie mogła wytrzymać i przebywając dwa stopnie estrady, rzuciła się, aby zdjąć profitkę. Ale zaledwie miała jej dosięgnąć ręką, kiedy z ostatnim akordem utwór się skończył i pianista wstał. Niemniej śmiała inicjatywa młodej kobiety, krótkie zbliżenie, jakie wynikło stąd między nią a wirtuozem, wywarły wrażenie na ogół przychylnie.

— Zauważyła księżna, co zrobiła ta młoda osoba — rzekł generał de Froberville, witając się z księżną des Laumes, którą pani de Saint-Euverte opuściła na chwilę. — To ciekawe. Czy to artystka?

— Nie, to młoda de Cambremer — odparła niebacznie księżna i dodała żywo — Powtarzam, co słyszałam, nie mam najmniejszego pojęcia, kto to taki; mówiono za mną, że oni sąsiadują z panią de Saint-Euverte, ale nie sądzę, aby ktokolwiek ich znał. To muszą być „ludzie ze wsi”! Zresztą nie wiem, czy pan jest bardzo biegły w świetnym towarzystwie, które znajduje się tutaj, ale ja nie mam bladego pojęcia o nazwiskach wszystkich tych zdumiewających osób. Jak pan myśli, na czym oni trawią życie, poza koncertem u pani de Saint-Euverte? Musiała ich sprowadzić razem z grajkami, z krzesłami i z chłodnikami. Niech pan przyzna, generale, że ci wypożyczeni goście są cudowni. Czy ona doprawdy ma odwagę wynajmować tych statystów co tydzień? To niemożliwe!

— A! Ale Cambremer to nazwisko autentyczne i stare — rzekł generał.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby było stare — odparła sucho księżna — ale w każdym razie nie jest eufoniczne — dodała, podkreślając słowo „eufoniczne”, tak jakby było w cudzoślowie, dykcją właściwą kategorii Guermantes.

— Tak księżna uważa? Śliczna jest, miałoby się ochotę ją schrupać — rzekł generał, który nie tracił z oczu pani de Cambremer. — Nie sądzi księżna?

— Znadto się wypycha naprzód, uważam, że u tak młodej osoby to nie jest sympatyczne; bo nie przypuszczam, aby ona była z mojego rocznika — (to wyrażenie było wspólne Gallardonom i Guermantom).

Ale księżna, widząc, że pan de Froberville wciąż patrzy za panią de Cambremer, dodała, częścią przez złośliwość wobec tamtej, częścią przez uprzejmość dla generała: — Niesympatyczne... dla jej męża! Żałuję, że jej nie znam, skoro panu tak przypadła do serca, przedstawiłabym pana — rzekła księżna, której zapewne ani by się śniło to uczynić, gdyby знаła młodą kobietę. — Muszę pana już pożegnać, bo dziś są imieniny mojej przyjaciółki, muszę jej iść powinszować — rzekła skromnym i szczerym tonem, sprowadzając świetne zebranie, na które spieszyła, do rozmiarów nudnej, ale obowiązkowej i patriarchalnej ceremonii. — Zresztą muszę tam odszukać męża, który, podczas gdy ja byłam tutaj, poszedł odwiedzić swoich przyjaciół. Zna ich pan, sądzę, mają nazwisko od któregoś mostu... Jena.

— To było najpierw miano zwycięstwa, księżno — rzekł generał. — Co księżna chce, dla takiego starego rębajły jak ja — dodał, zdejmując monokl, aby go przetrzeć, tak jakby zmieniał opatrunek, podczas gdy księżna instynktownie odwróciła głowę — ta szlachta Cesarstwa to co innego, rozumie się, ale ostatecznie, to jest także bardzo piękne w swoim rodzaju. Ludzie, którzy się bili jak bohaterowie!

— Ależ ja jestem pełna szacunku dla bohaterów — rzekła lekko ironicznym tonem pani des Laumes — jeżeli nie chodzę z Błażem do tej księżnej d’Tena, to wcale nie dlatego; to po prostu dlatego, że ich nie znam. Błażej zna ich, kocha ich. Och, nie, to nie to, co pan mógłby przypuszczać, to nie flirt, nie mam powodu oponować! Zresztą, na dużo by mi się zdało oponować! — dodała melancholijnie, bo wszyscy wiedzieli, że od chwili, gdy książę des Laumes zaślubił swoją uroczą kuzynkę, nie przestaje jej zdradzać. — Jednym słowem, tutaj nie chodzi o to; to są ludzie, których Błażej znał dawniej. Wariuje za nimi, uważam, że to bardzo ładnie. Zresztą wystarczy mi to, co mi Błażej powiedział o ich domu... Niech pan pomyśli, wszystkie meble mają „empire”!

— To całkiem naturalne, księżno, skoro to są meble ich dziadków.

— Ależ ja wcale nie mówię, ale brzydkie mogą być i tak. Rozumiem doskonale, że ktoś może nie mieć rzeczy ładnych, ale przynajmniej niech nie ma rzeczy śmiesznych. Co pan chce? Nie znam nic bardziej filisterskiego, mieszczańskiego niż ten okropny styl, gdzie komody mają łabędzie głowy jak wanny.

— Ale mnie się zdaje, że oni mają piękne rzeczy; muszą mieć ów sławny mozaikowy stół, na którym podpisano pokój w roku...

— A, że mogą mieć rzeczy interesujące z punktu widzenia historii, tego nie przeczę. Ale to nie może być ładne... skoro jest ohydne! I ja mam też takie rzeczy, które Błażej odziedziczył po ciotce Montesquiou. Tylko że są na strychu w Guermantes, gdzie ich nikt nie widzi. Zresztą nie o to chodzi, poleciałabym do nich z Błażem, siedziałabym u nich nawet pośród ich sfinksów i mosiądzu, gdybym ich znała, ale... nie znam ich! Bo kiedy byłam mała, zawsze mi mówiono, że niegrzecznie jest chodzić do ludzi, których się nie zna — rzekła księżna, przybierając tonik dziecka. — Więc robię to, czego mnie uczono. Wyobraża pan sobie tych zacnych ludzi, gdyby ujrzeli wchodzącą osobę, której nie znają. Może by mnie bardzo źle przyjęli!

I przez kokieterię księżna upiękzyła jeszcze uśmiech zrodzony z tego przypuszczenia, dając wlepionym w generała błękitnym oczom wyraz łagodny i marzący.

— Och, księżno, wie pani dobrze, że byliby uszczęśliwieni...

— Ależ nie, czemu? — spytała żywo, czy to aby nie okazać, iż wie, że dlatego, że jest jedną z największych dam we Francji, czy aby mieć przyjemność usłyszenia tego z ust generała. — Czemu? Skąd pan wie? To by im było może bardzo a bardzo nieprzyjemne. Ja nie wiem, ale jeżeli mam sądzić po sobie, tak mnie już nudzi widywać osoby, które znam, że gdyby trzeba było widywać jeszcze osoby, których nie znam, nawet „heroiczne”, oszalałabym chyba. Zresztą, proszę pana, poza starymi przyjaciółmi jak pan, których się zna bez tego, nie wiem, czy heroizm byłby bardzo przytulny w towarzystwie. I tak mnie już często nudzi wydawać obiady, ale gdyby trzeba było, idąc do stołu, brać pod ramię jakiegoś Spartakusa... Nie, doprawdy, gdybym potrzebowała czternastego do stołu, nie szukałabym Wercyngetoryksa. Czuję, że zachowałabym go na wielkie przyjęcia. A że ich nie wydaję...

— Och, księżno, nie darmo pani jest z domu Guermantes! Ma pani rasowy dowcip Guermantów!

— Zawsze się mówi dowcip Guermantów, nigdy nie mogłam pojąć czemu. Czy pan zna dowcip poza Guermantami? — dodała z bujnym i radosnym wybuchem śmiechu, z twarzą napiętą ożywieniem, z rozświetlonymi wesołością oczami, które rozświetlić w ten sposób mogła jedynie pochwała jej dowcipu lub urody, choćby wygłoszona przez nią samą. — O, widzi pan, generale, zdaje mi się, że Swann kłania się pańskiej Cambremer; o tam... jest koło mamy Euverte, nie widzi pan! Niechże go pan poprosi, żeby pana przedstawił. Ależ niech się pan spieszy, już się żegna.

— Zauważyła pani, jak on fatalnie wygląda? — rzekł generał.

— Mój drogi Lolo! Och, nareszcie przychodzi; zaczynałam przypuszczać, że on mnie nie chce widzieć!

Swann bardzo lubił księżnę des Laumes, przy tym widok jej przypominał mu Guermantes sąsiadujące z Combray, całe te strony, które tak lubił i dokąd już nie jeździł, aby się nie oddalać od Odety. Uciekając się do owych wpół artystycznych, wpół dwornych form, którymi umiał się spodobać księżnej i które odnajdywał bezwiednie, kiedy się na chwilę zanurzył w dawnym środowisku, a równocześnie chcąc sam dla siebie dać upust swojej nostalgii, ozwał się tak, aby go równocześnie słyszała pani de Saint-Euverte, do której mówił, i księżna des Laumes, dla której mówił: — Och, nasza urocza księżna! Widzi pani, umyślnie przybyła z Guermantes, aby usłyszeć Świętego Franciszka z Asyżu. Niby mała sikorka ledwie miała tyle czasu, aby dzióbnąć parę owoców tarniny, parę głógów i włożyć je sobie na głowę. O, jest nawet parę kropel rosy, trochę szronu, od którego główka musi cierpnąć. To śliczne, droga księżno.

— Jak to, księżna umyślnie przybyła z Guermantes? Ależ to za wiele! Nie wiedziałam — wykrzyknęła naiwnie pani de Saint-Euverte, nieoswojona ze stylem Swanna. — Po czym, patrząc na uczesanie księżnej, dodała — Ależ prawda, to naśladuje... jak mam

powiedzieć, nie kasztany, nie, och! to czarująca myśl: ale skąd księżna mogła znać mój program? Panowie muzycy nawet mi go nie zakomunikowali.

Swann, przywykły wobec kobiety, z którą zachował język tkliwej galanterii, mówił subtelne rzeczy, niezrozumiałe dla wielu światowców, nie raczył pani de Saint-Euverte wytłumaczyć przenośni. Co się tyczy księżnej, zaczęła się śmiać do rozpuku, ponieważ dowcip Swanna był bardzo ceniony w jej koterii, a także dlatego, że wszelki komplement zwrócony do niej wydawał się jej pełen delikatnego wdzięku i nieodpartego humoru.

— Cudownie, zachwycona jestem, panie Lolu, jeżeli moje głogi spodobały się panu. Czemu się pan kłania tej Cambremer, czy i pan także jest jej sąsiadem?

Widząc, że księżna zadowolona jest z towarzystwa Swanna, pani de Saint-Euverte oddaliła się.

— Ależ i pani także jest jej sąsiadką, księżno.

— Ja! Więc ci ludzie mają dobra po całym świecie! Jakżebym chciała być na ich miejscu!

— Nie państwo Cambremer, ale jej rodzice; ona jest z domu Legrandin, przyjeżdżała do Combray. Nie wiem, czy pani wiadomo, księżno, że pani jest hrabiną Combray i że kapituła winna jest pani tenetę.

— Nie wiem, co mi jest winna kapituła, ale wiem, że proboszcz doi ze mnie co rok sto franków, bez czego bym się chętnie obeszała. Bądź co bądź, ci Cambremer mają nazwisko bardzo osobliwe. Kończy się w samą porę, ale kończy się bardzo lichy — rzekła śmiejąc się księżna.

— Zaczyna się nie o wiele lepiej — odparł Swann.

— W istocie, ten podwójny skrót!...

— Jak gdyby ktoś bardzo zirytowany i bardzo dobrze wychowany nie ośmielił się dopowiedzieć pierwszego słowa.

— Skoro nie mógł się wstrzymać, aby nie zacząć drugiego, wołałby już skończyć pierwsze, żeby już położyć kropkę<sup>24</sup>. Zabrnęliśmy w dowcipy doprawdy w uroczym smaku, mój drogi Lolo; ale jakie to nieznośne nie widywać już pana — dodała przymilnie — tak lubię z panem rozmawiać. Niech pan pomyśli, temu idiocie Froberville nie potrafiłabym nawet nasunąć myśli, że nazwisko Cambremer jest zdumiewające. Niech pan przyzna, że życie to okropna rzecz. Jedynie kiedy pana widzę, przestaję się nudzić.

Oczywiście to nie była prawda. Ale Swann i księżna mieli ten sam sposób brania drobnych rzeczy, czego skutkiem — o ile nie przyczyną — było wiele analogii w sposobie wyrażania się, nawet w wymowie. Podobieństwo to nie uderzało, ponieważ trudno było o coś różniejszego niż ich głosy. Ale gdyby ktoś zdołał odjąć w myśli słowem Swanna dźwięk, który je spowijał, wąsy, spomiędzy których wychodziły, czuło się, że to są te same zdania, te same akcenty — styl koterii Guermantes. W ważnych rzeczach Swann i księżna różnili się we wszystkich poglądach. Ale Swann, od czasu jak był tak smutny, odczuwając wciąż jak gdyby ów dreszcz poprzedzający chwilę wybuchnięcia płaczem, czuł potrzebę mówienia o zgrzytotach, niby morderca o swojej zbrodni. Słyszając z ust księżnej, że życie to okropna rzecz, uczył tę samą słodycz, co gdyby mu mówiła o Odecie.

— Och, tak, życie to okropna rzecz. Trzeba, żebyśmy się częściej widywali, droga księżno. To takie miłe u pani, że pani nie jest wesoła. Można by spędzić kiedy wieczór razem.

— Ależ oczywiście, czemu by pan nie miał przyjechać do Guermantes, moja teściowa oszalałaby z radości. To uchodzi za bardzo brzydkie, ale powiem panu, że mnie się tam dosyć podoba; mam wstręt do okolic „malowniczych”.

— Bardzo wierzę, tam jest cudownie — odparł Swann — to nawet za piękne, zanadto żywe dla mnie w tej chwili; to kraina dla ludzi szczęśliwych. Może to dlatego, że tam wzrosłem, ale wszystko tak przemawia tam do mnie. Z chwilą gdy się zerwie wiatr i zboża zaczną falować, zdaje mi się, że ktoś ma przybyć, że dostanę jakąś wiadomość; i te domki nad wodą... byłbym bardzo nieszczęśliwy!

— Och, mój drogi Lolo, niech pan uważa, ta potworna Rampillon dostrzegła mnie, niech mnie pan schowa, niech mi pan przypomni, co się jej zdarzyło, mieszam wszyst-

<sup>24</sup>ci Cambremer mają nazwisko (...) kropkę — Niewybredna gra słów oparta na nazwisku Cambronne i na nazwie rzeczy, z którą nazwisko to się skojarzyło. [przypis tłumacza]

ko, ożeniła córkę czy kochanka, nie wiem już sama: może oboje... i ze sobą!... A, nie, przypominam sobie, odrzucił ją jej książkę... Niech pan udaje, że pan mówi do mnie, żeby mnie ta Berenice nie zaprosiła przypadkiem na obiad. Zresztą ja uciekam. To ładnie, panie Lolu, kiedy pana raz wreszcie widzę, nie chce się pan dać porwać! Zawiozłabym pana do księżnej parmeńskiej, która byłaby taka kontenta, Błażej także. Ma się tam spotkać ze mną. Gdyby się nie miało wiadomości o panu przez naszego Mémé... Niech pan pomyśli, panie Lolu, że ja pana nigdy już nie widzę!

Swann odmówił: uprzedziwszy Charlusa, że z rautu pani de Saint-Euverte wróci prosto do domu, nie chciał dla wizyty u księżnej parmeńskiej narażać się na utratę słówka, którego cały wieczór oczekiwał i które może zastanie u odźwiernego.

— Ten biedny Swann — mówiła później pani des Laumes do męża — zawsze miły, ale wygląda bardzo nieszczęśliwie. Zobaczysz go, bo obiecał się któregoś dnia na obiad. Wydaje mi się w gruncie śmieszne, żeby człowiek o jego inteligencji cierpieć dla osoby tego rodzaju, która nie jest nawet interesująca, bo mówią, że to idiotka — dodała z rozsądkiem ludzi niezakochanych, którzy uważają, że człowiek inteligentny powinien by cierpieć tylko dla osoby tego wartej; to mniej więcej to samo, co dziwić się, że ktoś raczy cierpieć na cholerę z powodu istotki tak małej jak bakcyl cholery.

Swann chciał wyjść, ale w chwili gdy miał się wreszcie wymknąć, generał de Froberville poprosił, aby go przedstawił pani Cambremer; musiał wrócić z generałem do salonu, żeby jej poszukać.

— Słuchaj, Swann, wolałbym być mężem tej kobietki, niż być zmasakrowanym przez dzikich, jak pan myśli, co?

Te słowa „zmasakrowanym przez dzikich” przeszły boleśnie serce Swanna; natychmiast odczuł potrzebę podtrzymania rozmowy z generałem.

— Och — rzekł — były piękne egzystencje, które kończyły się w ten sposób... Na przykład, wie pan... ten żeglarz, którego popioły przywiózł Dumont d'Urville, La Pérouse... — (i Swann był już szczęśliwy, tak jakby mówił o Odecie) — To piękny charakter ten La Pérouse, interesuje mnie bardzo — dodał melancholijnie.

— A tak, La Pérouse — rzekł generał. — To znane nazwisko. Ma swoją ulicę.

— Zna pan kogo przy ulicy La Pérouse? — spytał niespokojnie Swann.

— Tylko panią de Chanlivault, siostrę naszego zacnego Chaussepierre. Dała nam ładną komedijkę kiedyś. To salon, który będzie kiedyś bardzo elegancki, zobaczy pan!

— A, ona mieszka przy ulicy La Pérouse? To sympatyczne, ładna ulica, taka smutna.

— Ale nie; chyba pan tam nie był od dłuższego czasu; to już wcale nie jest smutne, cała ta dzielnica zaczyna się budować.

Wreszcie Swann przedstawił pana de Froberville młodej pani de Cambremer. Ponieważ słyszała nazwisko generała po raz pierwszy, oblekła twarz w uśmiech radosnej niespodzianki, tak jakby było jej dobrze znajome; nie znając bowiem przyjaciół swojej nowej rodziny, przy każdej świeżo przedstawianej osobie myślała, że to ktoś z nich i sądziła, iż daje dowód taktu, udając, że dużo słyszała o nim od zamążpójścia; jakoż podawała rękę z minką mającą wyrazić i skromność, którą trzeba jej zwalczyć, i odruch sympatii, który pokonał tę nieśmiałość. Toteż teściowie jej, których uważała jeszcze za najświetniejszych ludzi we Francji, głosili, że ich synowa to anioł; radzi byli zresztą okazywać, iż żeniąc syna, ulegli raczej urokowi zalet jego przyszłej niż ponętom wielkiego posagu.

— Widać, że pani głęboko czuje muzykę — rzekł generał, robiąc bezwiednie aluzję do sceny z profitką.

Ale koncert rozpoczął się na nowo i Swann zrozumiał, iż nie będzie mógł odejść przed końcem numeru. Cierpiał uwieczony wśród ludzi, których głupota i śmieszność uderzały go tym boleśniej, ile że ci ludzie nie znali jego miłości, a gdyby ją znali, nie mogłaby ich ona zainteresować; umieliby się jedynie uśmiechnąć z niej jak z dzieciństwa lub ubolewać nad nią jak nad szaleństwem. Tym samym miłość Swanna stawała się dlań czymś na wskroś subiektywnym, istniejącym tylko dla niego, czymś, czego w rzeczywistości nie potwierdzało nic z zewnątrz. Cierpiał zwłaszcza — i to tak, że sam dźwięk instrumentów budził w nim chęć krzyku — że przedłuża swoje wygnanie w miejscu, w którym Odeta nie znajdzie się nigdy, gdzie nikt i nic jej nie zna, któremu jest całkowicie obca.

Ale nagle stało się tak, jak gdyby ona weszła, a zjawienie to stało się dla Swanna bólem tak rozdzierającym, że musiał przyłożyć rękę do serca. Bo skrzypce wzniosły się

do wysokich nut, gdzie zawisły niby w oczekiwaniu; oczekiwanie przedłużało się, przy czym skrzypce wciąż trwały w zachwycie, jak gdyby spostrzegając już zbliżającą się tę, której oczekiwały. Rozpaczliwym wysiłkiem starały się dotrzeć do jej przybycia, przyjąc ją przed oddaniem ducha, jeszcze przez chwilę utrzymać dla niej ostatkiem sił otwartą drogę, jak się przytrzymuje drzwi, które by się inaczej zatrzasnęły. I zanim Swann miał czas zrozumieć i powiedzieć sobie: „To fraza z sonaty Vinteuila, nie słuchać, nie słuchać!”, wszystkie wspomnienia z czasu, gdy Odeta się w nim kochała, wspomnienia, które zdołał do dziś dnia zachować niewidzialne w głębiach swego jestestwa, oszukane tym nagłym promieniem z czasów jak gdyby wskrzeszonej miłości, obudziły się i jednym rzutem skrzydeł wzbily się, aby bez litości dla jego obecnej niedoli śpiewać mu co sił zapomniane refreny szczęścia.

Zamiast oderwanych wyrażen: „czas, kiedy byłem szczęśliwy”, „kiedy byłem kochany”, które często wymawiał dotąd, nie cierpiąc przy tym zbyt, bo jego inteligencja zamykała w nich tylko oschłe wyciągi z przeszłości, Swann odnalazł wszystko, co utrwaliło na zawsze swoistą i lotną esencję tego utraconego szczęścia. Ujrzał wszystko: śnieżne i kędzierzawe płatki złocieni, które mu Odeta rzuciła do powozu, które przyciskał do ust; adres *Maison Dorée* na liście, gdzie wyczytał: „Ręka mi drży, kiedy piszę do pana”; ściągnięcie brwi Odety, kiedy mówiła z błagalną twarzą: „czy nie za długo każe mi pan czekać na ten znak?”. Poczł zapach żelazka fryzjera, który podczytywał go „na jeża”, podczas gdy Loredan szedł po młodą gryzetskę; ulewy, które spadały tak często owej wiosny, mroźne powroty powozem przy blasku księżyca, wszystkie oczka nawyków myśli, klimatycznych wrażeń, naskórkowych wspomnień, rozciągających na szeregu tygodni jednostajną sieć, w którą ciało jego dostało się znowu.

W owej dobie Swann zaspakajał rozkoszną ciekawość, poznając słodczych ludzi żyjących miłością. Sądził, że potrafi zatrzymać się na tym; że nie będzie musiał poznać ich cierpień; jakże małą rzeczą był dlań teraz urok Odety wobec tej straszliwej grozy, która poszerzała ten urok niby mglistą otęczę; wobec tego olbrzymiego niepokoju, że nie wie w każdej chwili, co Odeta robi, że nie posiada jej wszędzie i zawsze! Z bólem przypomniał sobie akcent, jakim wykrzyknęła: „Ależ zawsze będę mogła pana widzieć, zawsze jestem wolna!” — ona, która nie jest teraz wolna nigdy! Przypomniał sobie jej zainteresowanie, ciekawość, jaką okazywała dla jego życia, namiętne pragnienie, aby jej zrobił tę łaskę — raczej niepożądaną dla Swanna i kłopotliwą w danej chwili — aby jej pozwolił wniknąć w swoją egzystencję. Jak ona musiała go prosić, aby się dał zaciągnąć do Verdurinów! Kiedy jej pozwalał przyjść do siebie raz na miesiąc, ileż razy, nim się dał skłonić, Odeta musiała mu powtarzać, co by to była za rozkosz widywać się co dzień. Marzyła o tym wówczas, gdy jemu się to wydawało jedynie ciężarem; potem zbrzydziła sobie ten zwyczaj i poniechała go na zawsze, gdy dla Swanna stał się on niezwykłą i tak bolesną potrzebą! Za trzecim widzeniem się, kiedy Odeta powtarzała: „No i czemu nie pozwala mi pan przychodzić częściej”, Swann odrzekł, śmiejąc się, z galanterią: „Aby nie cierpieć później” — nie wiedział, że mówi taką prawdę! Teraz, ach, zdarzało się jeszcze czasem, że Odeta pisała do niego z restauracji albo z hotelu na firmowym papierze, ale te listy paliły go niby płomienie. „Z hotelu Vouillemont? Co ona tam może robić? Z kim? Co się tam dzieje?” Przypomniał sobie płomyki gazu, które gaszono na Boulevard des Italiens, kiedy wbrew wszelkiej nadziei spotkał ją pośród cieniów błędzących owej nocy, która mu się wydała niemal nadprzyrodzona. I w istocie owa noc — z epoki, kiedy nie potrzebował nawet pytać, czy nie zrobi przykrości Odecie, szukając jej, odnajdując ją, tak bardzo był pewny, że ona nie ma większej radości niż widzieć go i wracać z nim — należała do tajemniczego świata, dokąd nie ma sposobu wrócić, kiedy bramy się zatrzasną.

I zmartwiały w obliczu tego przeżywanego w myśli szczęścia, Swann ujrzał nieszczęśliwego, który w nim obudził litość, bo go nie poznał od razu, tak iż musiał spuścić oczy, aby nie było widać, że są pełne łez. To był on sam.

Kiedy zrozumiał, litość jego pierzchła, ale uczuł się zazdrosny o owego drugiego siebie, którego Odeta kochała; uczuł się zazdrosny o tych, o których powiadał sobie często — i bez zbytnej męki — „kochają ich może”. O to wszystko uczuł się zazdrosny teraz, kiedy mglistą abstrakcją kochania, w której nie ma miłości, zmienił na płatki złocieni i na nagłówki *Maison d'Or*, które jej były pełne. Następnie, kiedy cierpienie jego stawało się zbyt żywe, przeciągnął ręką po czole, wypuścił monokl, przetarł szkło. I bez wątpienia,

gdyby się ujrzał w tej chwili, byłby do kolekcji monokli dodał własny, który usuwał niby natrętną myśl i na którego zamglonej powierzchni starał się chustką zetrzeć troskę.

Skrzypce — o ile, nie widząc instrumentu, nie możemy skonfrontować głosu z obrazem, który zmienia dźwięk — posiadają akcenty tak pokrewne niektórym głosom altowym, że chwilami ma się złudzenie, iż śpiewaczka wmieszała się do koncertu. Podnosimy oczy, widzimy tylko pudła, szacowne niby szkatułki chińskie; ale chwilami ludzi nas jeszcze kuszące wołanie syreny; czasami także słyszymy niby uwiecznionego ducha, który szamoce się jak diabeł w kropielnicy w głębi uczonej szkatułki, zaczarowanej i drżącej; czasami wreszcie jawi się w powietrzu jak gdyby nadprzyrodzona i czysta istota, która przechodzi, śląc swoje niewidzialne zwiastowanie.

Swann miał uczucie, że muzycy nie tyle grają ową frazę, ile dopełniają obrzędów potrzebnych na to, aby się zjawiła; że przystępują do niezbędnych zaklęć, aby uzyskać i przedłużyć o kilka chwil cud jej objawienia. Niezdolny jej już widzieć, tak jak gdyby należała do jakiegoś świata ultrafioletowego, odczuwał ożywczą świeżość w chwilowej ślepotcie, jakiej uległ, zbliżając się do owej frazy. Czuł jej obecność, czuł ją niby opiekuńczą boginię, powiernicę swojej miłości; aby dotrzeć doń w tłumie i pomówić z nim na uboczu, przybrała strój tego dźwięcznego zjawiska. Przechodziła lekka, kojąca i zwiewna na kształt zapachu, powiadając mu to, co miała mu powiedzieć; wchłaniał jej słowa, żalując, że mijają tak szybko, czyniąc mimo woli wargami ruch taki, jakby całował w przejściu harmonijne i ulotne ciało. Nie czuł się już wygnany i samotny, skoro ona, zwracając się doń, mówiła mu szeptem o Odecie. Bo nie miał już jak niegdyś wrażenia, że ta fraza nie zna Odety i jego. Tak często była świadkiem ich upojeń! Prawda, że często także ostrzegała o ich kruchości. Wówczas Swann w jej uśmiechu, w jej czystych i melancholijnych akcentach, odgadywał cierpienie; dziś natomiast znajdował w niej raczej wdzięk wesołej niemal rezygnacji. Niegdyś mówiła mu o zgryzotach, których korowód ciągnęła za sobą z uśmiechem — w jego oczach, ale bezboleśnie — w szybkim i kapryśnym biegu; obecnie zgryzoty te były jego udziałem, tak iż nie miał nadziei kiedykolwiek się od nich uwolnić; ale melodia zdawała się mówić jak niegdyś o jego szczęściu. „I cóż to jest, wszystko to nie ma znaczenia”. I pierwszy raz, w porzywie litości i czułości, myśl Swanna zwróciła się ku Vinteuilowi, ku owemu nieznanemu i wzniosłemu bratu, który również musiał tyle cierpieć: czym mogło być jego życie? W jakich bólach zaczerpnął tę boską siłę, tę nieograniczoną potęgę tworzenia?

Kiedy małeńka fraza mówiła mu o nicości jego cierpień, Swann znajdował słodycz w tej samej mądrości, która przed chwilą zdawała mu się nieznośna, kiedy ją czytał w obojętnych twarzach ludzi, patrzących na jego miłość jako na głupstwo bez znaczenia. Bo przeciwnie, ta ulotna fraza, bez względu na swój sąd o nietrwałości stanów duszy, widziała w nich, na wspak wszystkim tym ludziom, nie coś mniej poważnego od pozytywnego życia, ale przeciwnie coś o tyle wyższego, że jedynie to warte jest wyrazu. Starła się naśladować owe uroki tajemnego smutku, odtwarzać je; ujęła je, pokazała samą ich istotę polegającą wszelako na tym, że nie da się ich udzielić i że muszą się wydać blahe każdemu poza tym jednym, który ich doświadcza. Tak iż narzuciła cenę tych uroków i pozwoliła kosztować ich boskiej słodyczy wszystkim obecnym, o ile byli bodaj trochę muzykalni; tym samym, którzy później zlekceważyliby je w życiu, w czyjejś miłości rodzącej się w ich oczach. Bez wątpienia formy, w którą ujęła je melodia, nie dało się określić rozumowaniem. Ale od roku przeszło, kiedy, odsłaniając Swannowi bogactwa jego własnej duszy, zrodziła się w nim, bodaj na jakiś czas, miłość muzyki, uważał on motywy muzyczne za prawdziwe idee, z innego świata, innej kategorii, idee przesłonięte mrokiem, nieznanne, niedostępne inteligencji, ale mimo to doskonale zróżnicowane, nierówne wartością i znaczeniem. Kiedy po wieczorze u Verdurniów, każąc sobie przegrywać małą frazę, Swann starał się zrozumieć, jak ona go ogarnia, jak go spowija na kształt zapachu lub pieszczoty, zdał sobie sprawę, że ta fraza muzyczna zawdzięcza owo wrażenie pierzchliwej słodyczy niewielkim odstępom między pięcioma składającymi ją nutami oraz stałemu nawrotowi dwóch spomiędzy tych nut; ale w rzeczywistości wiedział, że analizuje nie samą frazę lecz proste walory, podstawione dla wygody jego inteligencji pod tajemniczą jedność, którą ogarnął, zanim jeszcze znał Verdurniów, na owym wieczorze, gdzie pierwszy raz usłyszał sonatę.



Wiedział, że samo wspomnienie fortepianu wykrzywia jeszcze perspektywę, w jakiej widział sprawy muzyki; że polem otwartym dla muzyka jest nie mizernych siedem nut, ale niezmiernie klawiatura, jeszcze prawie całkowicie nieznaną, gdzie ledwo tu i ówdzie, oddzielone grubymi ciemnościami niektóre z miliona składających ją klawiszy tkliwości, namiętności, odwagi, pogody — klawiszy różnych od siebie niemal tak, jak jeden świat różny jest od drugiego — objawiały się wielkim artystom. Ci, budząc w nas odpowiedniki motywu, który znaleźli, oddają tę usługę, że pokazują nam, jakie bogactwo, jaką rozmaitość kryje bez naszej wiedzy owa wielka, niezglębiona i rozpaczliwa noc naszej duszy — noc, którą bierzemy za pustkę i nicość.

Vinteuil był jednym z tych muzyków. W jego frazie, mimo iż przedstawiała dla rozumu ciemną powierzchnię, czuło się treść tak rzetelną, tak wymowną, pełną tak nowej i oryginalnej siły, że ci, którzy ją usłyszeli, zachowali ją w sobie na równi z pojęciami intelektu. Swann widział w niej niby koncepcję miłości i szczęścia, której odrębność była mu tak wyraźna, jak odrębność *Księżnej de Clèves* albo *Renégo*, kiedy tytuły tych utworów nastęrczały się jego pamięci. Nawet kiedy nie myślał o tej frazie, żyła ona utajona w jego duszy tak samo jak pewne inne swoiste pojęcia, jak światło, dźwięk, wypukłość, rozkosz fizyczna — bogate dziedziny, które urozmaicają i zdobią królestwo ducha. Może je stracimy, może się zatną, kiedy wrócimy w nicość. Ale dopóki żyjemy, tak samo nie możemy sprawić, abyśmy ich nie znali, jak nie możemy tego uczynić wobec jakiegoś rzeczywistego przedmiotu: jak nie możemy na przykład wątpić o świetle lampy zapalanej w obliczu przeobrażonych sprzętów pokoju, z którego uleciało nawet wspomnienie ciemności. Przez to fraza Vinteuila — jak jakiś motyw z *Tristana* na przykład, który przedstawia dla nas również pewien uczuciowy nabytek — zrosła się z naszą doczesnością, przybrała coś ludzkiego i dość wzruszającego. Los jej związał się z przeszłością, z realnością naszej duszy, której była jedną z najbardziej swoistych, najlepiej zróżniczkowanych ozdób. Może nicość jest prawdą i cały nasz sen jest czymś nieistniejącym; ale wówczas czujemy, że owe melodie, owe pojęcia należące do tego snu musiałyby być również niczym. Zginiemy, ale mamy jako rękojmię owe niebiańskie zakładniczki, które podziela nasz los. I śmierć wraz z nimi jest czymś mniej gorzkim, mniej bezsławnym, może mniej prawdopodobnym.

Swann miał tedy rację, wierząc, że fraza sonaty istnieje realnie. Będąc w tym sensie czymś ludzkim, należała wszelako do sfery istot nadprzyrodzonych. Istot tych nie widzieliśmy nigdy; mimo to poznajemy je z zachwytem, kiedy jakiś odkrywca Niewidzialnego zdoła pochwycić którą z nich; kiedy z boskiego świata, dokąd ma przystęp, zdoła ją ściągnąć, aby zabłysła przez chwilę nad naszym światem. To właśnie zrobił Vinteuil. Swann czuł, że za pomocą instrumentów muzycznych kompozytor po prostu odsłonił ją, uczynił widzialną, wykreślił i uszanował jej rysunek ręką tak czulą, tak ostrożną, tak delikatną i pewną, że dźwięk zmieniał się co chwila, zacierając się, aby zaznaczyć cień, wzmacniając się, kiedy trzeba mu było biec śladem śmielszego konturu. A dowodem, że Swann nie mylił się, wierząc w realne istnienie frazy, było to, że każdy bodaj trochę wyrobiony miłośnik muzyki poznałby się natychmiast na oszustwie, gdyby Vinteuil, mniej zdolny ujrzeć i oddać jej kształty, starał się jakąś sztuczką nadrobić luki swej wizji lub omdlenia ręki.

Znikła. Swann wiedział, że zjawi się pod koniec, po długim ustępie, który pianista pani Verdurin zawsze opuszczał. Były tam cudowne myśli, których Swann nie doceniał za pierwszym słyszeniem, a które ogarniał teraz, jak gdyby w szatni jego pamięci pozbyły się jednostajnego kostiumu nowości. Swann słuchał licznych tematów, które wchodziły w skład frazy, niby przesłanki nieodzownego wniosku; był świadkiem jej genezy. „O śmiałości, może równie genialna — powiadał sobie — co śmiałość jakiegoś Lavoisiera, Ampera; śmiałości Vinteuila eksperymentującego, odkrywającego tajemne prawa nieznannej siły, prowadzącego poprzez Niezbadane do jedynego możliwego celu niewidzialny zaprzęg, któremu zaufał, a którego nie ujrzy nigdy”. Jakże wspaniały dialog między fortepianem a skrzypcami usłyszał Swann z początkiem ostatniej części! Usunięcie ludzkich słów, zamiast — jak można było przypuszczać — dać folgę fantazji, wykluczyło ją; nigdy mówiony język nie był tak nieubłaganie logiczny, nigdy nie osiągnął w tym stopniu celowości pytań, oczywistości odpowiedzi. Najpierw samotny fortepian skarżył się niby ptak opuszczony przez towarzyszkę; skrzypce usłyszały go, odpowiedziały mu jak gdyby z sąsiedniego drzewa. Było to jakby na początku świata; jak gdyby było tylko ich dwo-

je na ziemi lub raczej w owym świecie zamkniętym wszystkiemu innemu, wzniesionym logiką twórcy i gdzie będzie zawsze tylko ich dwoje. Światem tym — sonata. Czy to jest ptak, czy niekompletna jeszcze dusza leciutkiej frazy, czy niewidzialna i żaląca się wróżka, której tkliwe skargi powtarza później fortepian? Krzyki jej były tak nagłe, że skrzypek musiał co prędzej ująć smyczek, aby je pochwycić. Cudowny ptak! Skrzypek próbował go urzec, oblaskawić, ująć. Już wszedł w jego duszę, już zbudzona melodia miotła naprawdę opętanym ciałem skrzypka niby ciałem medium. Swann wiedział, że fraza odezwie się jeszcze raz. I rozdziwił się tak doskonale, że oczekiwanie bliskiej chwili, w której się znów znajdzie w jej obliczu, wstrząsnęła go szlochem podobnym temu, jaki rodzi w nas piękny wiersz albo smutna wiadomość; nie wówczas, gdy jesteśmy sami, ale kiedy udzielamy ich przyjaciółom, oglądając w nich siebie samych niby kogoś drugiego, którego domniemane wzruszenie rozczuła ich.

Fraza zjawiała się, ale tym razem po to, aby zawisnąć w powietrzu, brzmieć przez chwilę tylko — jak gdyby nieruchoma — i zamrzeć. Toteż Swann nie tracił nic z krótkiego czasu, przez który trwała. Była jeszcze tuż, niby barwna bańka mydlana wisząca w powietrzu. Podobna tęczy, której blask słabnie, zniża się, potem się podnosi i zanim zgaśnie, rozbłyska na chwilę bogaciej niż wprzódy, dotychczasowym dwóm kolorom przydała inne barwne struny, wszystkie kolory pryzmatu i kazała im śpiewać. Swann nie śmiał się ruszyć; byłby też chciał przytrzymać inne osoby, jak gdyby najbliższy ruch mógł zniweczyć nadprzyrodzony, rozkoszny i kruchy czar, który tak rychło miał pierzchnąć.

Nikt co prawda nie miał zamiaru mówić. Niewymowne słowo jedyne nieobecne, może umarłego (Swann nie wiedział, czy Vinteuil jeszcze żyje), wionąc ponad gesty celebrantów, wystarczało, aby utrzymać w napięciu uwagę trzystu osób i z tej estrady, gdzie niejako wywoływano duszę, czyniło jeden z najszlachetniejszych ołtarzy służących dla spełnienia się nadziemskiego obrządku. Fraza rozpadła się w końcu, bujając strzępami w dalszych motywach, które już zajęły jej miejsce. I jeżeli Swann uczył się w pierwszej chwili podrażniony, kiedy hrabina de Monteriender, sławna ze swoich naiwności, nim jeszcze sonata się skończyła, pochyliła się doń, aby mu zwierzyć swoje wrażenia, później nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, znajdując może głęboki sens w słowach, którymi się nieświadome posłużyła. Oczarowana biegłością wykonawców, wykrzyknęła: „To niesłychane, nigdy nie widziałam nic tak przejmującego...”. Ale troska o ścisłość kazała jej się poprawić w tym dopełnieniu: „nic tak przejmującego... od czasu wirujących stolików!”.

Poczawszy od tego wieczoru, Swann zrozumiał, że uczucie, jakie Odeta miała dlań niegdyś, nie zmartwychwstanie nigdy; że jego nadzieje szczęścia już się nie ziszczą. I w dniu, w które przypadkiem była z nim jeszcze miła i tkliwa, jeżeli miała dla niego jakieś względy, notował te zwodnicze i kłamliwe oznaki wątłego nawrotu z ową rozczuloną i sceptyczną uwagą, z rozpaczliwą radością ludzi, którzy, pielęgnując przyjaciela w ostatniej fazie nieuleczalnej choroby, podnoszą jako cenne fakty: „wczoraj sam robił rachunki i sam spostrzegł drobny błąd w dodawaniu; zjadł z przyjemnością jajko; jeśli je dobrze strawi, spróbujemy jutro kotleta”; — mimo iż wiedzą, że fakty te są bez znaczenia w wilię nieuchronnej śmierci. I Swann był niemal pewny, że gdyby teraz żył z dala od Odety, stałaby mu się w końcu obojętna, tak iż byłby rad, gdyby opuściła Paryż na zawsze; miałby się zostać, ale nie miał siły wyjechać.

Często nawiedzała go ta myśl. Teraz, kiedy wrócił do swego studium o Vermeerze, powinien by się udać na kilka dni przynajmniej do Hagi, do Drezna, do Brunszwiku. Był przekonany, że pewna *Toaleta Diany*, którą kupił Mauritshuits na wyprzedazy Goldschmidta jako Nikolasa Maes, była w istocie Vermeerem. I byłby chciał móc na miejscu przestudiować ten obraz, aby utrwalić swoją pewność. Ale opuścić Paryż, kiedy w nim była Odeta, a nawet kiedy jej nie było, to było zbyt okrutne; bo w nowych miejscach, gdzie wrażenia nie stępiły się nawykiem, ból krzepi się, odżywa. Jeżeli Swann czuł się zdolny bez ustanku myśleć o tym zamiarze, to jedynie dlatego, iż wiedział, że go nie wykona nigdy. Ale zdarzało mu się, iż zamiar podróży odradzał się w nim podczas gdy spał — bez świadomości, że ta podróż jest niemożliwa — i spełniał się we śnie. Jednego dnia śniło mu się, że wyjeżdża na cały rok; wychylony z okna wagonu ku młodzieńcowi, który go żegnał z płaczem, Swann starał się go namówić, aby z nim jechał. Kiedy pociąg ruszył, obudził go lęk; przypomniał sobie, że nie jedzie, że zobaczy Odetę tego wieczora,

nazajutrz, prawie co dzień. Wówczas, jeszcze wzruszony swoim snem, błogosławił okoliczności, które go czyniły niezależnym, dzięki którym mógł zostać przy Odecie, a także osiągać to, aby mu pozwoliła widywać się czasem. Streszczał wszystkie swoje przewagi: sytuację; majątek, którego Odeta zbyt często potrzebowała, aby się nie miała cofnąć przed zerwaniem (mając nawet, powiadano, tajemny zamiar wydania się za Swanna); przyjaźń pana de Charlus, która co prawda nigdy Swannowi wiele nie pomogła u Odety, ale dawała mu słodką świadomość, że kochanka słyszy o nim pochlebne rzeczy od wspólnego przyjaciela, którego wysoko ceniła; nawet swoją inteligencję wreszcie, zużywaną całkowicie na to, aby co dzień obmyślić jakiś nowy fortel, który by czynił jego obecność jeżeli nie przyjemną, to przynajmniej potrzebną Odecie. Pomyślał, czym byłby, gdyby mu tego wszystkiego brakło; pomyślał, że gdyby był jak tylu innych biedny, nędzny, bez środków, zmuszony przyjąć wszelką pracę albo przykuty do rodziny, do żony, byłby może musiał opuścić Odetę; że ów sen, którego groza była jeszcze tak bliska, mógłby być prawdziwy; i powiedział sobie: „Człowiek nie zna swojego szczęścia”. Nigdy nie jest się tak nieszczęśliwym, jak się mniema”. Ale obliczył, że ta egzystencja trwa już od kilku lat; że najwięcej, czego mógł się spodziewać, to aby trwała ciągle; że poświęciłby swoje prace, przyjemności, przyjaciół, całe swoje życie wreszcie na codzienne oczekiwanie schadzki, która nie mogła mu przynieść nic szczęśliwego; — i spytał sam siebie, czy się nie myli; czy to, co sprzyjało jego stosunkowi i zapobiegło zerwaniu, nie było dlań zgubą; czy prawdziwym szczęściem nie byłoby właśnie to, z czego się tak cieszył że zdarzyło się jedynie we śnie: mianowicie wyjazd; i powiedział sobie, że nie zna się swojego nieszczęścia, i że nigdy nie jest się tak szczęśliwym, jak się mniema.

Czasami miał nadzieję, że Odeta zginie bez cierpień w jakim wypadku; ona, która była od rana do wieczora poza domem, na ulicy, w drodze. I kiedy wracała zdrowa i cała, podziwiał, iż ciało ludzkie jest tak gibkie i mocne, że może ustawicznie opierać się i urągać tylu niebezpieczeństwom (które zdawały się Swannowi niezliczone od czasu, jak wywołało je jego tajemne pragnienie); i że pozwala ludziom oddawać się co dzień niemal bezkarnie kłamstwu i gonitwie za rozkoszą. I Swann czuł się bliski owego Mahometa II z portretu Belliniego, który tak lubił; ów Mahomet, czując, że się zakochał do szaleństwa w jednej z żon, zaszytył ją, aby — powiada naiwnie wenecki biograf — odzyskać swobodę ducha. Ale potem Swann oburzał się, że myśli tylko o sobie i uważał, iż cierpienia jego nie są godne żadnej litości, skoro on sam tak mało waży życie Odety.

Jeśli nie mógł się oderwać od niej ostatecznie, gdyby przynajmniej widywał ją bez rozstań: ból jego uśmierzyłby się w końcu i miłość może by wygasła. I skoro Odeta nie chce opuścić Paryża na zawsze, pragnąłby, aby go nie opuszczała nigdy. Kiedy wiedział, że jedyny dłuższy jej wyjazd przypada na sierpień i wrzesień, miał bodaj czas na kilka miesięcy naprzód rozpuścić jego gorzką świadomość w całym przyszłym czasie, jaki już nosił w sobie; i ów czas, złożony z dni podobnych dniom obecnym, krążył przezroczyście i zimny w jego myśli, gdzie podtrzymywał smutek, ale bez zbyt wielu cierpień. Ale ta utajona przyszłość, ta bezbarwna i płynna rzeka, ścinała się w sercu Swanna od jednego słowa Odety; ścinała się jak martwy i twardy kawał lodu; i Swann czuł nagle w sercu olbrzymią, niepodobną do skruszenia masę, która rozpierała ściany jego istoty tak, że groziły pęknięciem. Po prostu Odeta rzekła, śledząc go spod oka uśmiechniętym i chytym spojrzeniem:

— Forcheville robi ładną wycieczkę na Zielone Świąta; jedzie do Egiptu.

Natychmiast rozumiał, że to znaczy: „Jadę do Egiptu na Zielone Świąta z Forchevillem”. I w istocie, jeżeli w kilka dni potem Swann powiedział: „Słuchaj, à propos tej podróży, na którą się wybierasz z Forchevillem”, Odeta odpowiadała naiwnie: „Tak, kochanie, jedziemy dziewiętnastego, przyśle ci się widok piramid”.

Wówczas chciał się dowiedzieć, czy jest kochanką Forcheville’a, chciał spytać o to jej samej. Wiedział, że jest przesądna, że istnieją pewne zaklęcia, których by nie uczyniła; a przy tym wstrzymująca go dotąd obawa, że pogniewa Odetę, że się zożydzi w jej oczach, nie istniała już, odkąd stracił wszelką nadzieję, aby go kiedykolwiek pokochała.

Pewnego dnia Swann otrzymał anonimowy list, który mu powiadał, że Odeta była kochanką niezliczonych mężczyzn (zacytowano niektórych, między nimi Forcheville’a, pana de Bréauté i „mistrza”) i wielu kobiet, że odwiedza domy schadzek. Przykro było

Swannowi myśleć, że wśród jego przyjaciół znajduje się człowiek zdolny napisać taki list; bo z pewnych szczegółów jasne było, że autor listu zna dokładnie jego życie. Zastanawiał się, kto by to mógł być. Ale nie umiał nigdy podejrzewać ukrytych czynności ludzi bez widocznego związku z ich mową. I kiedy rozważał, czy tajemne sprężyny, które musiały sprawić ten nikczemny postępek, ma pomieścić w charakterze barona de Charlus czy księcia des Laumes, czy pana d'Orsan, nie widział żadnej racji, aby wybrać jednego z nich zamiast innego; żaden bowiem z tych ludzi nigdy przy nim nie pochwałał anonimowych listów; raczej wszystkie ich słowa pozwalały mniemać, że je potępiają. Charlus, był trochę narwany, ale serdeczny i dobry; charakter pana des Laumes był nieco oschły, ale uczciwy i zdrowy. Co się tyczy pana d'Orsan, nawet w najsmutniejszych okolicznościach Swann nie spotkał człowieka, który by się doń zbliżał z serdeczniejszym słowem, z dyskretniejszym i subtelniejszym gestem. Tak dalece, że Swann nie mógł zrozumieć mętnej nieco roli, jaką przypisywano panu d'Orsan w jego stosunku z pewną bogatą kobietą; za każdym razem, kiedy myślał o panu d'Orsan, musiał wyeliminować tę złą reputację, nie do pogodzenia z tyłoma niewątpliwymi oznakami delikatności. Przez chwilę Swann czuł, że mu się w głowie mroczy; zaczął myśleć o czym innym, aby odzyskać nieco światła. Następnie miał odwagę wrócić do tych refleksji. Ale wówczas od niepodejrzewania nikogo trzeba mu było się przerwucić do podejrzewania wszystkich. Ostatecznie, Charlus lubił Swanna, miał dobre serce. Ale to był neuropata; jutro może będzie płakał, dowiadując się, że Swann jest chory, a dziś z zazdrości, z gniewu, pod wpływem jakiejś nagłej obsesji zapragnął mu sprawić przykrość. W gruncie, ten typ ludzi najgorszy jest ze wszystkich. Z pewnością książę des Laumes nie jest ze Swannem ani w przybliżeniu tak serdecznie jak Charlus. Ale tym samym nie ma w stosunku do niego tylu drażliwości; przy tym to jest natura bez wątpienia chłodna, ale równie niezdolna do nikczemności jak do wielkich czynów. Swann żałował, że się przyjaźnił w życiu jedynie z takimi ludźmi. Potem przychodziło mu na myśl, że od czynienia komuś krzywdy wstrzymuje nas dobroć; że w gruncie może ręczyć tylko za natury podobne do jego własnej, tak jak ręczyłby za serce pana de Charlus, którego oburzyłaby sama myśl zrobienia Swannowi tej przykrości! Inna rzecz człowiek raczej oschły, odmiennego temperamentu, jak des Laumes: jak przewidzieć, do czego mogłyby go przywieźć pobudki innej natury? Mieć serce, to wszystko; a Charlus je miał. Panu d'Orsan nie zbywało go również; jego stosunki ze Swannem, serdeczne, ale mniej bliskie, zrodzone ze wspólności poglądów i uroku ich wymiany, były większą gwarancją niż egzaltowane przywiązanie Charlusa, zdolne posunąć się do gwałtownych wybuchów — w dobrym czy w złym. Jeżeli był ktoś, kto Swanna zawsze umiał kochać i rozumieć, to d'Orsan. Tak, ale jego podejrzane życie? Swann żałował w tej chwili, że się z tym nie liczył; że często przyznawał się żartem, iż nigdy nie doznaje równie żywych uczuć sympatii i szacunku, co w stosunku do kanalii. Nie bez powodu — powiedział sobie teraz — ludzie sądzą bliźnich na podstawie ich uczynków! Jedynie one coś znaczą, a wcale nie to, co mówimy lub myślimy. Charlus i des Laumes mogą mieć takie czy inne wady, ale to są porządni ludzie. D'Orsan nie ma może tych wad, ale to nie jest porządny człowiek. Mógł zrobić jedno świństwo więcej. Następnie Swann posądził stangreta Rémi, który co prawda mógł tylko być moralnym sprawcą listu; przez chwilę, podejrzenie to wydało mu się trafne. Po pierwsze, Lorédan miał przyczyny nie lubić Odety. A potem, cóż naturalniejszego, że służba, żyjąc w niższej sferze, przydając naszym dostatkom i wadom urojone bogactwa i przywary, dla których zazdroszczą nam i gardzą nami, musi tym samym postępować inaczej niż ludzie z naszego świata? Swann podejrzewał także swojego dziadka. Czyż nie odmawiał, ilekroć Swann go prosił o jakąś przysługę? A przy tym ze swoimi mieszczańskimi poglądami mógł sądzić, że działa dla dobra Swanna. Podejrzewał jeszcze Bergotte'a, malarza, Verdurinów; jeszcze raz podziwiał mądrość ludzi z towarzystwa, że nie chcą obcować z owym światem artystów, gdzie tego rodzaju rzeczy są możliwe, może aprobowane pod mianem „dobrego kawału”; ale wnet przypomniał sobie rysy świadczące o prawości tych cyganów i porównał je z dwuznaczną, hultajską niemal egzystencją, do jakiej brak pieniędzy, potrzeba zbytku, rozpusta, przywodzą często arystokrację.

Krótko mówiąc, anonim ten dowodził Swannowi, że liczy do swoich znajomych indywiduum zdolne do nikczemności; ale nikczemność ta mogła się równie dobrze kryć w niezgłębionych pokładach charakteru człowieka uczuciowego, co w duszy człowieka zimnego; u artysty jak u mieszczanina, u wielkiego pana jak u lokaja. Jaki probierz przy-

jąc, aby osądzić człowieka? W gruncie rzeczy, wśród tych, których znał, nie było ani jednej osoby, która by nie mogła być zdolna do podłości. Czy trzeba zerwać ze wszystkimi? Myśli Swanna zmaciły się; powiódł kilka razy dłonią po czole, przetarł binokle i pomyślał, że ostatecznie ludzie nie gorsi od niego przestają z panem de Charlus, z księciem des Laumes i z innymi. Jeżeli to nie znaczy, że oni sami zdolni są do nikczemności, znaczy bodaj tyle, iż koniecznością życia jest przestawać z ludźmi, którzy nie są może do niej niezdolni. I nadal ścisnął rękę przyjaciółom, których przez chwilę podejrzewał, z tą czysto stylistyczną poprawką, że chcieli go może przywieźć do rozpacz.

Co się tyczy treści listu, nie troszczył się o nią; ani jedno z oskarżeń dotyczących Odety nie miało cienia prawdopodobieństwa. Jak wielu ludzi Swann miał umysł leniwy i bez inwencji. Wiedział wprawdzie ogólnie, że życie jest pełne sprzeczności; ale myśląc o poszczególnej osobie, utożsamiał nieznaną partię jej życia z tymi, które znał. To, czego mu nie mówiono, odtwarzał sobie za pomocą tego, co mu mówiono. Kiedy zdarzyło mu się w poufnych chwilach mówić z Odetą o czymś brzydkim postępkowi lub o nieszlachetnym uczuciu, ona potępiała je w imię tych samych zasad, które Swann zawsze słyszał w ustach swoich krewnych i którym pozostał wierny; przy tym Odeta podlewała kwiaty, piła herbatę, interesowała się pracami Swanna. Zaczem Swann rozciągał te obyczaje na resztę życia Odety; powtarzał owe jej gesty, kiedy sobie chciał wyobrazić jej życie z dala od niego. Gdyby mu ją odmalowano taką, jak jest — lub raczej jaką była z nim tak długo — ale z innym mężczyzną, cierpiałby, bo ten obraz wydałby mu się prawdopodobny. Ale to, żeby chodziła do rajfurek, żeby się oddawała orgiom z kobietami, żeby prowadziła plugawą życie ladacznicy, cóż za niedorzeczna brednia, na której realizację, Bogu dzięki, odtwarzane w wyobraźni zlocienie, herbaty, cnotliwe oburzenia Odety nie zostawiały miejsca.

Od czasu do czasu tylko Swann dawał do zrozumienia Odecie, że przez złośliwość opowiadają mu wszystko, co ona robi. Posługując się w porę jakimś przypadkowo uzyskanym nieznaczącym, ale prawdziwym szczegółem, tak jakby to był jedynie mały, mimo woli ukazany koniuszek całkowitej rekonstrukcji jej życia, którą jakoby chował dla siebie, budził w niej przypuszczenie, że on wie rzeczy, których w rzeczywistości ani wiedział, ani nawet podejrzewał; bo jeżeli tak często zaklinał Odetę, żeby mu nie tała prawdy, było to — świadomie lub nie — jedynie po to, aby mu opowiedziała wszystko, co robiła.

Bez wątpienia Swann — jak to powiedział Odecie — lubił szczerłość; ale lubił ją jak rajfura zdolnego informować go o życiu kochanki. Toteż jego kult szczerłości, niebezinteresowny, nie uczynił go lepszym. Prawdą, którą kochał, była ta, którą by mu powiedziała Odeta; ale on sam dla uzyskania tej prawdy nie wahał się uciekać do kłamstwa, którego nie przestawał malować Odecie jako czegoś wiodącego istotę ludzką do spodlenia. W sumie kłamał tyleż co Odeta, ponieważ, nieszczęśliwszy od niej, był nie mniej samolubny. A ona, słysząc jak Swann opowiada jej samej wszystko, co robiła, patrzyła nań z minką nieufną i na wszelki wypadek zagniewaną, aby nie wyglądało, że się upokarza i że się rumieni za swoje postęпки.

Jednego dnia, znajdując się w okresie spokoju, najdłuższym, do jakiego był jeszcze zdolny bez ataku zazdrości, Swann wybrał się do teatru z księżną des Laumes. Kiedy wziął dziennik, aby zobaczyć, co grają, widok tytułu: *Dziewczyny z marmuru* Teodora Barrière ugodził go tak okrutnie, że mimo woli wzdrygnął się i odwrócił głowę. Oświetlone niby blaskiem rampy, w nowym otoczeniu, słowo „marmur” — które Swann przestał rozróżniać, tak często przywykł je spotykać — stało mu się nagle na nowo widzialne. Przypomniało mu natychmiast historię, którą Odeta opowiadała mu niegdyś. Mówiła mu o tym, jak się wybrała z panią Verdurin na wystawę w *Palais de l'industrie* i jak pani Verdurin powiedziała: „Strzeż się, potrafię cię rozgrzać; nie jesteś z marmuru”. Odeta upewniała, że to był tylko żart, i Swann nie przywiązywał do tego żadnego znaczenia. Ale wówczas ufał jej więcej niż teraz. I właśnie anonim mówił o tego rodzaju miłości. Nie śmiejąc podnieść oczu na dziennik, Swann rozwinął go, obrócił kartkę, aby nie widzieć już tych słów: *Dziewczyny z marmuru*, i zaczął machinalnie czytać wiadomości z prowincji. Była burza na La Manche, oznajmiano szkody w Dieppe, w Cabourg, w Beuzeval. Swann wzdrygnął się znowu.

Nazwa Beuzeval przywiodła mu na myśl inną miejscowość w tamtej okolicy: Beuzeville, zwane także Beuzeville-Bréauté. Widywał często tę nazwę na mapie, ale pierwszy raz

zauważył jej powinowactwo z nazwiskiem swego przyjaciela, pana de Bréauté, o którym anonim mówił, że był kochankiem Odety. Ostatecznie co do pana de Bréauté oskarżenie mogło mieć widoki prawdopodobieństwa; ale co się tyczyło pani Verdurin, była to niemożliwość. Z tego, że Odeta kłamała czasem, nie można było wnosić, że nigdy nie mówi prawdy; a w słowach, które wymieniła z panią Verdurin i które mu sama powtórzyła, Swann poznał owe puste żarciki, na jakie przez nieznaną naturę życia i nieświadomość grzechu puszczają się kobiety. Żarciki takie świadczą o niewinności owych kobiet, które — jak na przykład Odeta — bardziej od innych odległe są od namiętnej sympatii dla własnej płci; oburzenie zaś, z jakim odparła podejrzenia mimo woli zrodzone w Swannie na chwilę, godziło się ze wszystkim, co wiedział i o gustach, i o temperamencie kochanki. Ale w tej chwili nawiedziło Swanna jedno z owych natchnień zazdrości analogicznych do stanu, w jaki poetę lub uczonego, mających dopiero jeden rym albo jedno spostrzeżenie, wprawia myśl lub forma, które dadzą im całą ich potęgę. Pierwszy raz Swann przypomniał sobie coś, co mu Odeta powiedziała przed dwoma laty: „Och, pani Verdurin w tej chwili widzi w świecie tylko mnie; ja jestem jej ukochanie, całuje mnie, chce, żebym z nią chodziła za sprawunkami, żebym jej mówiła ty”. Daleki od szukania wówczas w tym zdaniu jakiegokolwiek związku z niedorzecznymi bajeczkami opowanymi mu przez Odetę dla osłonięcia występku, Swann przyjął to jako dowód gorącej przyjaźni. I teraz oto wspomnienie owej czułości pani Verdurin zespoliło się nagle ze wspomnieniem jej niesmacznej rozmówki. Nie mógł już tych dwóch rzeczy rozdzielić w myślach, widział je również splecione w rzeczywistości, przy czym czułość dawała coś głębszego i poważniejszego tym żartom, które nawzajem odzierały tę czułość z jej niewinności. Swann udał się do Odety. Usiadł z dala od niej. Nie śmiał jej ucałować, nie wiedząc czy w niej — jak i w nim — pocałunek ten obudzi serdeczność czy gniew. Milczał, patrzył na umieranie ich miłości. Nagle powziął postanowienie.

— Odeto — rzekł — moje kochanie, ja wiem, że jestem wstrętny, ale muszę cię zapytać o pewne rzeczy. Przypominasz sobie myśli, jakie mnie nachodziły z powodu ciebie i pani Verdurin. Powiedz mi, czy to była prawda, z nią czy z inną.

Potrząsnęła głową, zaciskając usta, jak często czynią ludzie, aby odpowiedzieć, że gdzieś nie pójdą, że to ich nudzi, kiedy ktoś pyta: „Czy pójdziesz popatrzeć na kawalkadę, czy pójdziesz zobaczyć rewię?”. Ale ten ruch głowy, uświęcony zwyczajem wobec zdarzenia przyszłego, daje tym samym coś wątpliwego zaprzeczeniu wypadków przeszłych. Raczej odwołuje się do osobistych upodobań niż stwierdza bezwzględne potępienie, moralną niemożebność. Widząc, jak Odeta stwierdza gestem, że to jest fałsz, Swann zrozumiał, że to jest może prawda.

— Mówiłam ci już, przecież wiesz — dodała tonem zirytowanym i żalonym.

— Tak, wiem, ale czy jesteś tego pewna? Nie mów mi: „Wiesz przecie”, powiedz wprost: „Nigdy nie robiłam nic takiego z żadną kobietą”.

Powtórzyła jak lekcję, ironicznie i jakby się go chciała pozbyć.

— Nigdy nie robiłam nic takiego z żadną kobietą.

— Czy możesz mi to przysiąc na medalik Matki Boskiej z Laghet?

Swann wiedział, że Odeta nie przysięgłaby krzywo na ten medalik.

— Och, jak ty mnie dręczysz — wykrzyknęła, jak gdyby wyzwajając się nagłym gestem z uścisku tego pytania. — Dasz ty mi wreszcie spokój? Co tobie dziś się dzieje? Koniecznie chcesz, żebym cię zniercierpiała, zniecierpiała. Ot, chciałam, żeby znów było wszystko dobrze jak dawniej, i to twoje podziękowanie!

Ale on nie wypuszczał jej niby chirurg czekający na koniec spazmu, który przerywa jego zabieg, ale nie każe go poniechać:

— Mylisz się, kiedy sobie wyobrażasz, że ja miałbym do ciebie jakąkolwiek pretensję, Odeto — rzekł z przekonującą i kłamliwą słodyczą. — Mówię ci zawsze tylko o tym, co wiem, a zawsze wiem o wiele więcej niż mówię. Ale ty jedna możesz złagodzić swoim wyznaniem to, co mi cię każe nienawidzić, dopóki o tym wiem tylko przez innych. Przebaczam ci wszystko, skoro cię kocham; gniew mój nie pochodzi z twoich postępów; ale z twojego fałszu, z twojego niedorzecznego fałszu, kążącego ci uparcie przeczyć rzeczom, które wiem. Jakże ty chcesz, abym cię mógł nadal kochać, kiedy widzę, jak mi coś twierdzisz w żywe oczy, jak mi przysięgasz na coś, o czym wiem, że jest kłamstwem. Odeto, nie przedłużaj tej chwili, która jest torturą dla nas obojga. Jeżeli chcesz, będzie

za chwilę koniec; będziesz uwolniona ode mnie raz na zawsze. Powiedz mi na ten swój medalik, jasno, czy robiłaś kiedy takie rzeczy.

— Ależ ja sama nie wiem — wykrzyknęła z gniewem — może bardzo dawno temu, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, może parę razy.

Swann wziął w rachubę wszystkie możliwości. Ale widać rzeczywistość jest czymś bez żadnego związku z możliwościami, tak samo jak pchnięcie nożem jest bez związku z lekkim falowaniem chmur nad naszą głową, skoro te słowa „parę razy” zarysowały się niby znakiem krzyża na sercu Swanna. Rzecz dziwna, aby te słowa: „parę razy”, nic tylko słowa, słowa rzucone w powietrze, na odległość, mogły tak rozedrzyć serce, jak gdyby go dotknęły naprawdę; aby mogły przyprawić o chorobę niby połknięta trucizna. Mimo woli Swann pomyślał o słowach, które usłyszał u pani de Saint-Euverte: „Coś najbardziej przejmującego od czasu wirujących stolików”. Cierpienie jego nie było podobne do niczego z rzeczy, które przypuszczał. Nie tylko dlatego, że w godzinach najbardziej zatrutych podejrzeniem rzadko roił sobie coś równie daleko posuniętego w złem; ale że, nawet kiedy sobie wyobrażał tę rzecz, pozostawała ona mglista, niepewna, pozbawiona swoistej zgrozy, która wydarła się ze słów: „może parę razy”; pozbawiona swoistego okrucieństwa, równie odmiennego od wszystkiego, co znał, jak choroba nawiedzająca nas po raz pierwszy. A mimo to Odeta, od której pochodziło całe to cierpienie, była mu nie mniej droga, nawet o wiele cenniejsza, jak gdyby w miarę, jak rosło cierpienie, rosła i wartość środka kojącego, odtrutki, jaką posiadała jedynie ta kobieta. Chciał, aby ta okropna rzecz, o której powiedziała mu, że ją robiła „parę razy”, nie mogła się powtórzyć. Dlatego trzeba mu było czuć nad Odetą. Powiadają często, że zdradzając przyjacielowi błędy kochanki, jedynie zbliża się go do niej, ponieważ nie daje im wiary; ale o ileż bardziej, jeżeli daje wiarę!

„Ale — powiedział sobie Swann — jak ją chronić? Mógłby ją może ubezpieczyć od pewnej kobiety, ale istnieją setki innych!”. I rozumiał, jakie szaleństwo wstąpiło weń, kiedy owego wieczora, gdy nie zastał Odety u państwa Verdurin, zaczął pragnąć posiadania — zawsze niemożliwego — drugiej istoty.

Szczęściem dla Swanna, pod nowym cierpieniem, które wdarło się w jego duszę niby horda najeźdźców, istniał grunt natury dawniejszej, łagodniejszej i pracującej w milczeniu, niby komórki zranionego organu, które zabierają się natychmiast do tego, aby odbudować uszkodzone tkanki lub mięśnie sparaliżowanej kończyny, silące się podjąć swoje ruchy. Ci dawniejsi, bardziej przyrodzeni mieszkańcy duszy Swanna pochłonęli na chwilę wszystkie jego siły w tej podziemnej, leczniczej pracy, która rekonwalescentowi lub człowiekowi operowanemu daje złudzenie spokoju.

Tym razem owo odprężenie nastąpiło nie tyle — jak zwykle bywało — w mózgu Swanna, ile raczej w jego sercu. Ale wszystkie rzeczy w życiu, które raz istniały, dążą do tego, aby się odrodzić. Niby konające zwierzę, wstrząsane na nowo skurczem konwulsji, które zdawały się skończone, to samo cierpienie, samo z siebie, naznaczyło ten sam krzyż na oszczędzonym przez chwilę sercu Swanna. Przypomniał sobie księżycowe wieczory, kiedy rozparty w wiktorii niosącej go na ulicę La Pérouse rozkosznie pielęgnował w sobie wzruszenia człowieka zakochanego, nie znając zatrutego owocu, jaki nieodzownie miały wydać. Ale wszystkie te myśli trwały tylko sekundę, tyle, aby poniósł rękę do serca, odzyskał oddech i zdołał się uśmiechnąć, aby pokryć męczarnię. Już zaczynał na nowo pytać. Bo jego zazdrość, podjąwszy trud, jakiego nie byłby sobie zadał wróg, aby mu wymierzyć cios, aby mu dać poznać ból najokrutniejszy w życiu, ta zazdrość nie uważała, że on dosyć cierpi; starała się mu zadać ranę jeszcze głębszą. Niby złe bóstwo prowadziła Swanna i pchała go do zguby. Jeżeli męczarnia jego nie spotęgowała się zrazu, nie było to jego zasługą, ale raczej Odety.

— Moje kochanie — rzekł — już kończę; powiedz tylko, czy to było z osobą, którą znam?

— Ale nie, przysięgam ci; zresztą mnie się zdaje, że ja przesadziłam, że nie zaszłam tak daleko.

Uśmiechał się i podjął:

— Cóż chcesz! To nie ma znaczenia, ale to wielka szkoda, że nie możesz mi powiedzieć nazwiska. Gdybym mógł sobie wyobrazić osobę, to by mi pozwoliło przestać o tym myśleć. Mówię to dla twojego dobra, bo już bym cię tym nie nudził. To uspokaja, móc

sobie wyobrazić każdą rzecz. Okropne jest to, czego sobie nie można wyobrazić. Ale ty byłaś już taka miłusia, nie chcę cię męczyć. Dziękuję ci z całego serca za twoją dobroć dla mnie. Już koniec. Tylko jeszcze to jedno: jak dawno temu?

— Och, Karolu, czyż nie widzisz, że ty mnie zabijasz, to już straszliwie dawno. Nigdy już o tym nie myślałam; rzekłby kto, że ty chcesz koniecznie naprowadzić mnie na te myśli. Dużo na tym zyskasz — rzekła z nieświadomą głupotą a rozmyślną złośliwością.

— Och, ja chciałem tylko wiedzieć, czy to od czasu jak się znamy. Ale to byłoby takie naturalne... Czy to się działo tutaj? Czy nie możesz mi określić danego wieczoru, abym sobie wyobraził, com robił tego właśnie wieczora; rozumiesz przecie, że nie jest możliwe, abyś sobie nie przypomniała z kim, Odeto, kochanie moje.

— Ależ ja nie wiem sama, zdaje się, że to było w Lasku jednego wieczora, kiedyś ty przyszedł do nas na wyspę. Byłeś na obiedzie u księżnej des Laumes — rzekła Odeta, szczęśliwa, że może dostarczyć szczegółu świadczącego o jej prawdomówności. — Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta, której nie widziałam od bardzo dawna. Rzekła do mnie: „Chodź za skałkę zobaczyć, jak księżyc się odbija w wodzie”. Ziewnęłam i odpowiedziałam: „Nie, zmęczona jestem i dobrze mi tutaj”. Zapewniła mnie, że nigdy nie było takiego księżycy. Powiedziałam: „też błaga!”, wiedziałam dobrze, dokąd ona zmierza.

Odeta opowiadała to prawie ze śmiechem, czy że jej się to wydało całkiem naturalne, czy że myślała, iż w ten sposób złagodzi wagę faktu, lub aby nie wyglądać na upokorzoną. Widząc wyraz Swanna, zmieniła ton:

— Jesteś niegodziwy, umyślnie mnie dręczysz; wyciągasz mnie na kłamstwa, kiedy ci mówię, żebyś mnie zostawił w spokoju.

Ten drugi cios był dla Swanna jeszcze okrutniejszy niż pierwszy. Nigdy nie przypuszczał, że to jest rzecz tak świeża, ukryta jego oczom, które nie umiały jej dojrzeć nie w nieznaną mu przeszłość, ale w wieczorach, które pamiętał tak dobrze, które przeżył z Odetą, o których myślał, że je zna tak dobrze, a które teraz wstecz nabierały czegoś tak krętego i okrutnego; i nagle pośród nich otwierała się owa ziejąca czeluść, ów moment na wyspie w Lasku. Nie będąc inteligentną, Odeta miała wdzięk naturalności. Opowiedziała, odegrała tę scenę z taką prostotą, że dygocący Swann widział wszystko; ziewnięcie Odety, skałę nad wodą. Słyszał ją jak odpowiada — wesoło, niestety: „Też błaga!”.

Czuł, że Odeta nie powie nic więcej tego wieczora, że nie ma co oczekiwać w tej chwili żadnych nowych faktów; milczał. Rzekł w końcu:

— Moje biedne małe, przebac mi; czuję, że ci robię przykrość, już koniec, nie myślę już o tym.

Ale Odeta widziała, że oczy jego zostały wlepione w rzeczy, których nie znał i w ową przeszłość ich szczęścia, jednostajną i słodką w jego pamięci, ponieważ była mglista, a teraz rozdieraną krwawo ową minutą na wyspie w Lasku przy blasku księżycy po obiedzie u księżnej des Laumes. Ale Swann tak bardzo przywykł interesować się życiem — podziwiać ciekawe odkrycia, jakie w nim można robić — że cierpiąc wciąż tak, iż myślał, że nie zdoła dłużej znieść podobnego bólu, powiadał sobie:

„Życie jest doprawdy zadziwiające i pełne niespodzianek! W sumie zepsucie jest powszechniejsze niż się przypuszcza. Oto kobieta, której ufałem, która wydaje się tak prosta, tak uczciwa; która — gdyby nawet była lekka — zdawała się w swoich gustach bardzo normalna i zdrowa. Pod wpływem nieprawdopodobnej denuncjacji, wypytuję ją i to trochę, co mi wyznaje, odsłania o wiele więcej niż to, co by można podejrzewać!”

Ale nie mógł się ograniczyć do tych bezinteresownych refleksji. Siłił się ściśle ocenić wartość tego, co mu Odeta powiedziała, aby móc stąd wnosić, czy te rzeczy robiła często, czy grożą nawrotem. Powtarzał sobie jej słowa: „Widziałam, do czego ona zmierza”, „Parę razy”, „Też błaga!” — ale nie pojawiały się w pamięci Swanna rozbrojone; każde trzymało nóż i zadawało mu nowy cios. Przez długi czas, tak jak chory nie może się powstrzymać od powtarzania bolesnego ruchu, powtarzał sobie te słowa: „Dobrze mi tutaj”, „Też błaga!” — ale cierpienie było tak silne, że musiał przestać. Zdumiewał się, iż sprawy, które zawsze sądził tak lekko, tak wesoło, teraz stały się dlań poważne niby choroba, z której można umrzeć. Znał dużo kobiet, które mógłby poprosić o to, aby czuwały nad Odetą. Ale jak się spodziewać, że one zajmą jego obecny punkt widzenia i nie pozostaną raczej na tym, którego on trzymał się tak długo, który wytyczył jego życie oddane rozkoszy? Czemu nie miałyby mu powiedzieć ze śmiechem: „Brzydki zazdrośnik, który chce drugich okradać



z przyjemności”. Przez jaką nagle spuszczoną zapadnię (on, który niegdyś czerpał z miłości do Odety jedynie subtelne przyjemności) dostał się oto w ten nowy krąg piekła, skąd nie widział możliwości wydobycia się kiedykolwiek?

Biedna Odeta! Nie miał do niej żalu. Ona była tylko na wpół winna. Czyż nie powiadano, że własna matka sprzedała ją w Nizy prawie dzieckiem bogatemu Anglikowi! Ale jakież bolesnej prawdy nabierały dlań te wiersze z *Dziennika Poety* Alfreda de Vigny, które niegdyś czytał obojętnie; „Kiedy czujemy, że się w nas rodzi miłość dla kobiety, powinniśmy się spytać: Z kim ona przestaje? Jakie było jej życie? Całe szczęście naszego istnienia tkwi w tym”. Swann zdumiewał się, że proste zdania powtarzane w myśli, jak „Też błaga”, „Widziałam, do czego ona zmierza”, mogą mu sprawiać taki ból. Ale rozumiał, że to, co on uważał za proste słowa, to są tylko rusztowania, między którymi mieści się zdolny w każdej chwili powrócić ból, jakiego doznał w czasie opowiadania Odety. Bo właśnie ten ból odczuwał na nowo. Daremnie wiedział teraz — daremnie by nawet z upływem czasu zapomniał po trosze, przebaczył; — w chwili gdy powtarzał te słowa, dawne cierpienie wskrzeszało Swanna takiego, jakim był, zanim Odeta je wyrzekła: nieświadomym, ufnym. Aby ugodzić Swanna wyznaniem Odety, jego okrutna zazdrość stawiała go w pozycji człowieka, który nic jeszcze nie wie; po kilku miesiącach stara ta historia wstrząsała nim zawsze jak rewelacja. Podziwiał straszliwą potęgę odtwórczą swojej pamięci. Jedynie po osłabnięciu tej rodzicielki, której płodność zmniejsza się z wiekiem, mógł się spodziewać złagodzenia swojej męczarni. Ale kiedy siła zadawania bólu, którą posiadało jedno ze słów Odety, zdawała się nieco wyczerpana, wówczas jakieś inne słowo, przy którym myśl Swanna mniej się zatrzymywała dotąd, słowo prawie nowe, luzowało tamte i uderzało go z niezużytą mocą.

Pamięć owego wieczoru, kiedy był na obiedzie u księżnej des Laumes, była mu bolesna; ale to było jedynie centrum jego cierpienia. Promieniowało ono mętnie na wszystkie dni sąsiednie. I na którymkolwiek momencie zatrzymały się wspomnienia Swanna, bolesny był dlań ów sezon, kiedy Verdurinowie tak często urządzały obiady na wyspie w Lasku. Ból był tak mocny, że z czasem obawa nowych cierpień zneutralizowała w nim ciekawość rodzącą się z zazdrości.

Zdawał sobie sprawę, że całe życie Odety przed jego spotkaniem, życie, którego nigdy nie próbował sobie odtworzyć, nie było oderwaną przestrzenią, którą widział mglisto, ale że składało się z poszczególnych lat, znaczyło się konkretnymi faktami. Ale lękał się, w razie gdyby poznał owe fakty, aby ta przeszłość bezbarwna, płynna i znośna, nie oblekła jakiegoś dotykającego i potwornego ciała, jakiejś indywidualnej i diabolicznej twarzy. I nadal nie starał się wyobrazić sobie tej przeszłości, już nie przez lenistwo myśli, ale przez obawę cierpienia. Spodziewał się, że kiedyś będzie mógł wreszcie bez dawnego rozdarcia słyszeć nazwę wyspy w Lasku, nazwisko księżnej des Laumes i nie miał odwagi wyciągać z Odety nowych cytatów, nazw, okoliczności zdolnych odrodzić w nowej formie jego ból, zaledwie ukojony.

Ale często sama Odeta odsłaniała mu naiwnie i nieświadomie rzeczy, których nie znał i które lękał się teraz poznać. W istocie Odeta nie czuła odległości, jaką zepsucie stwarzało pomiędzy jej życiem istotnym a owym stosunkowo niewinnym jej życiem, w które uwierzył niegdyś i często wierzył jeszcze teraz. Istota zepsuta, wciąż udając cnotę wobec tych, przez których nie chce być podejrzewana, zatracą poczucie, do jakiego stopnia narowy, których nieustannego wzrostu nie czuje, oddalają ją stopniowo od normalnego sposobu życia. Owo życie normalne, mieszkające w duszy Odety wspólnie z pamięcią postępków, które skrywała przed Swannem, barwiło się stopniowo ich refleksami, było jakby przez nie zakazane, przy czym sama Odeta nie znajdowała w tym nic szczególnego, nic tu się nie klóciło dla niej ze swoistym środowiskiem jej wnętrza; ale kiedy opowiadała coś Swannowi, ów przerażony był klimatem, jaki ujawniał się w jej słowach. Jednego dnia, próbował, nie raniąc Odety, wypytać ją, czy miała kiedy stosunki z rajfurkami. Prawdę mówiąc, był przekonany, że nie; anonim wprowadził to przypuszczenie w jego świadomość, ale w sposób mechaniczny; nie znalazło tam ono żadnej wiary, ale utkwilo. Aby się pozbyć czysto materialnej, ale dokuczliwej obecności podejrzenia, Swann pragnął, aby Odeta je wyrwała.

— Och, nie! To nie znaczy, aby mnie nie oblegano propozycjami — dodała, odsłaniając w uśmiechu zadowolenie próżności i nie podejrzewając, że mogłoby się ono nie

wydać Swannowi czymś godziwym i uprawnionym. — Ot, wczoraj jeszcze czekała na mnie więcej niż dwie godziny, ofiarowywała mi, ile sama zechcę. Zdaje się, że jakiś ambasador powiedział jej: „Zabiję się, jeżeli mi jej pani nie przyprowadzisz”. Powiedziano jej, że mnie nie ma w domu; w końcu wyszłam sama się z nią rozmówić, aby sobie poszła. Chciałabym, żebyś widział, jak ja ją przyjąłem! Pokojówka, która słyszała z sąsiedniego pokoju, mówiła mi, że krzyczała na cały głos: „Ależ powiadam pani, że nie chcę! Taki już mam kaprys, że nie mam ochoty. Myślę, że chyba mi wolno robić, co mi się podoba! Gdybym potrzebowała pieniędzy, a, wówczas rozumiem”. Nakazałam odźwiernemu, żeby jej nie wpuszczał: powie, że jestem na wsi. Och, byłabym kontenta, gdybyś ty gdzie siedział schowany. Myślę, że byłbyś ze mnie rad, kotuśku. Mimo wszystko twoja Odetka ma swoje dobre strony, chociaż ktoś się na nią tak wybrzydza.

Zresztą nawet jej wyznania win — o ile przypuszczała, że Swann je sam odkrył — raczej służyły mi za punkty wyjścia dla nowych podejrzeń niż kładły koniec dawnym. Bo nigdy wyznania nie pokrywały się całkowicie z podejzreniami. Daremnie Odeta usuwała ze swojej spowiedzi wszystko zasadnicze; zawsze w ubocznych szczegółach pozostawało coś, czego by Swann nigdy nie wyroił, coś, co go przytłaczało nowością i pozwalało mu przesunąć granice problemu zazdrości. I tych wyznań nie mógł już zapomnieć. Dusza jego włóczyła je, odrzucała, kołysała jak trupy. I była nimi zatruta.

Jednego razu Odeta wspomniała mi o wizycie, jaką Forcheville złożył jej w dniu festynu Paris-Murcie. „Jak to, tyś go już znała? Ach, tak, prawda” — poprawił się, aby nie zdradzić, że nie wiedział o tym. I nagle zaczął drżeć na myśl, że w dzień tego festynu, kiedy dostał od Odety list, który przechowywał jak świętość, ona była może z Forchevillem na śniadaniu w Maison d’Or. Przysięgła mu, że nie.

— A jednak Maison d’Or przypomina mi coś, o czym się dowiedziałem, że nie było prawdą — rzekł, aby ją nastraszyć.

— Tak, że nie byłam tam owego wieczora, kiedym ci powiedziała, że idę stamtąd, wówczas, gdyś mnie szukał u Prévosta — odparła (wnosząc z miny Swanna, że wie o tym) z determinacją, w której było więcej nieśmiałości niż cynizmu, i obawą podrażnienia Swanna (co przez ambicję chciała ukryć) i wreszcie chęć pokazania mu, że umie być szczerą. Toteż uderzała z precyzją i siłą kata, mimo iż bez okrucieństwa, bo Odeta nie miała świadomości bólu, jaki mu zadaje; nawet zaczęła się śmiać, głównie co prawda dlatego, aby się nie wydać upokorzoną, zmieszaną.

— Istotnie, nie byłam w Maison Dorée, wychodziłam od Forcheville’a. Byłam naprawdę u Prévosta, to nie była błąka; Forcheville spotkał mnie tam i zaproponował mi, żebym obejrzała jego sztychy. Ale ktoś przyszedł do niego. Powiedziałam ci, że idę z Maison d’Or, bo bałam się zrobić ci przykrość. Widzisz, to było raczej uprzejmie z mojej strony. Przypuśćmy, że źle zrobiła, przynajmniej mówię ci to otwarcie. Jakież interes miałabym w tym, aby ci równie dobrze nie powiedzieć, gdyby to była prawda, że z nim byłam na śniadaniu w dniu Paris-Murcie? Tym bardziej, że w tym czasie jeszcześmy z sobą nie byli tak blisko, powiedz, kochanie, prawda?

Uśmiechnął się do niej z nagłym tchórzostwem człowieka pozbawionego sił, jakiego uczyniły zeń te straszliwe słowa. Zatem nawet w tych miesiącach, o których od dawna nie ważył się myśleć dlatego, że były zbyt szczęśliwe, nawet w tych miesiącach, w których go kochała, już mu kłamała! Tak samo jak ta chwila (pierwszy wieczór, kiedy „poprawiali katleje”), kiedy mu powiedziała, że wychodzi z Maison Dorée, ileż musiało być innych, kryjących w sobie kłamstwo, którego Swann nie byłby przypuszczał. Przypomniał sobie, że mu raz powiedziała: „Powiem po prostu pani Verdurin, że suknia była niegotowa, że cab się spóźnił. Jest zawsze jakiś sposób”. I prawdopodobnie nieraz jakieś jej słówko tłumaczące spóźnienie, usprawiedliwiające przesunięcie schadzki, musiało ukrywać — bez podejrzeń z jego strony — coś, co ona miała robić z innym; i temu innemu z pewnością powiedziała: „Powiem po prostu Swannowi, że suknia była niegotowa, że cab się spóźnił, zawsze jest jakiś sposób”. I pod wszystkimi najśłodszymi wspomnieniami Swanna, pod najprostszymi słowami Odety, w które wierzył wówczas jak w ewangelię, pod codziennymi czynnościami, z których mu się spowiadała, pod najzwyczajniejszymi miejscami — domem krawcowej, Avenue du Bois, Hipodromem — czuł wślizgującą się możebną i podziemną obecność kłamstwa, ukrytą przy pomocy tej nadwyżki czasu, która w najszczegółowszych rozkładach dnia zostawia jeszcze trochę miejsca i może skrywać jakieś

czynności. I ta świadomość plugawiła mu teraz wszystko, co mu pozostało najbardziej drogim, ich najmiłsze wieczory, nawet ulicę La Pérouse, którą Odeta zawsze musiała opuszczać o godzinie innej, niż mu powiedziała; we wszystko wciskało się coś z owej mrocznej grozy, jaką Swann odczuł, słysząc wyznanie dotyczące Maison Dorée, i myśli te, niby poczarwane zwierzęta w *Kłęsce Niniwy*, waliły w gruzy, kamień po kamieniu całą jego przeszłość.

Jeżeli teraz odwracał się za każdym razem, kiedy pamięć podsuszała mu okrutną nazwę Maison Dorée, to już nie tak, jak niedawno jeszcze na wieczorze u pani de Saint-Euverte. Nazwa ta przypominała mu teraz nie stracone od dawna szczęście, ale nieszczęście, o którym dopiero co się dowiedział. Potem stało się z Maison Dorée to, co z wyspą w Lasku: pomalutku przestała zadawać Swannowi ból. Bo to, co uważamy za naszą miłość, za naszą zazdrość, to nie jest wciąż ta sama namiętność, ciągła, niepodzielna. Składają się z bezliku kolejnych miłości, z rozmaitych zazdrości, przemijających, ale przez swoją nieprzerwaną mnogość dających wrażenie trwania, złudzenie jedności. Żywot miłości Swanna, jego wytrwała zazdrość, rozdziły się ze śmierci, ze zdrad, z niezliczonych pragnień, wątpliwości, które wszystkie miały za przedmiot Odetę. Gdyby jej długo nie widział, cząstek, które umierały, nie zastąpiłyby inne cząstki. Ale obecność Odety wciąż zasiewała serce Swanna na przemian tkliwością i podejrzeniem.

W pewne wieczory Odeta odzyskiwała nagle dawną czułość, ostrzegając go twardo, że powinien korzystać z chwili, która inaczej nie odnowi się przed upływem lat. Trzeba było natychmiast iść do niej „poprawiać katleje” i owa rzekoma jej namiętność była tak nagła, niewytłumaczona, despotyczna, pieścizna, jakimi go obsypywała były tak demonstracyjne i niezwykle, że ta brutalna i nieprawdopodobna czułość sprawiała Swannowi tyleż przykrości, ile by mu jej sprawiły kłamstwo i dokuczliwość. Pewnego wieczora, kiedy tak na rozkaz Odety udał się do niej i kiedy ona przeplatała pocałunki namiętnymi słowami kłócącymi się ze zwykłą jej oschłością, nagle zdawało się Swannowi że słyszy szelest; wstał, szukał wszędzie, nie znalazł nikogo, ale nie miał już odwagi wrócić na swoje miejsce koło Odety. Wówczas, nie posiadając się z wściekłości, stłukła wazon i rzekła: „Nie można nigdy nic zrobić z tobą!”. I został w niepewności, czy ona nie ukryła kogoś, kogo chciała udreńczyć zazdrością lub rozplomienić żądzą.

Czasami szedł do domów schadzek, spodziewając się dowiedzieć czegoś o niej, ale nie śmiejąc jej wymienić. „Mam jedną dziewczynkę, która się panu spodoba”, mówiła gospodyni. I Swann spędzał godzinę, rozmawiając smutno z jakąś biedną dziewczyną, zdziwioną, że gość nie żąda nic więcej. Jedna z nich, młoda i śliczna, rzekła raz: „Chciałabym znaleźć przyjaciela; wówczas mógłby być pewny, że nie poszłabym już z nikim”. — „Doprawdy, myślisz, że to możliwe jest, aby kobietę wzruszyło, kiedy ktoś ją kocha, że mogłaby nie zdradzać?” — spytał Swann trwożliwie. — „Rozumie się! To zależy od usposobienia”.

Swann nie mógł się wstrzymać, aby nie mówić dziewczętom rzeczy, które by się spodobały księżnej des Laumes. Tej, która szukała przyjaciela, rzekł:

— To ładnie, włożyłaś niebieskie oczy koloru swojego paska.

— Pan także ma błękitne mankiety.

— Jaką my subtelną rozmowę prowadzimy jak na tego rodzaju zakład! Nie nudzę cię, jesteś może zajęta?

— Nie, mam czas. Gdyby mnie pan nudził, powiedziałabym. Przeciwnie, lubię, jak pan rozmawia.

— Bardzo mi to pochlebia. Prawda, że ładnie rozmawiamy — rzekł do gospodyni, która właśnie weszła.

— Ależ tak, właśnie to sobie mówiłam. Jacy oni są grzeczni! Ha, ha! Teraz przychodzi się do mnie na rozmowę. Jeden książę powiadał mi kiedyś, że tu jest o wiele przyjemniej niż u jego żony. Zdaje się, że teraz w świecie one wszystkie mają taki fason, że to istny skandal. Zostawiam państwa, jestem dyskretna.

I zostawiła Swanna z dziewczyną z błękitnymi oczami. Ale Swann niebawem wstał i pożegnał ją; była mu obojętna, nie znała Odety.

Malarz zachorował i doktor Cottard poradził mu podróż morską; ten i ów z „wiernych” chciał się wybrać z nim razem. Verdurinowie nie mogli się pogodzić z tym, aby mieli zostać sami; wynajęli jacht, potem kupili go, i w ten sposób Odeta odbyła liczne

podróże. Za każdym jej wyjazdem po jakimś czasie Swann czuł, że zaczyna się od niej odrywać; ale jak gdyby ta odległość moralna była w proporcji do odległości fizycznej, z chwilą gdy wiedział, że Odeta wróciła, nie mógł wytrwać, aby jej nie widzieć. Pewnego razu Verdurinowie wyjechali tylko na miesiąc; ale czy że przyszła im pokusa w drodze, czy że pan Verdurin chytrze ułożył rzecz z góry, aby zrobić przyjemność żonie, a zakomunikował to wiernym aż później, dość że z Algieru pojechali do Tunisu, potem do Włoch, do Grecji, do Konstantynopola, do Azji Mniejszej. Podróż trwała blisko rok. Swann czuł się przez ten czas zupełnie spokojny, prawie szczęśliwy. Mimo że Verdurin starał się przekonać pianistę i doktora Cottard, że ciotka pianisty i pacjenci doktora nie potrzebują ich wcale i że w każdym razie byłoby nieostrożnie pozwolić pani Cottard wracać do Paryża, który — twierdziła pani Verdurin — jest w przededniu rewolucji, trzeba było zwrócić im wolność w Konstantynopolu. Malarz pojechał z nimi. Pewnego dnia, po powrocie tych trojga podróżnych, Swann, widząc omnibus jadący w stronę muzeum, dokąd się udawał, wskoczył, siadł i znalazł się na wprost pani Cottard, która robiła swoje tournée „żurów” w wielkiej paradzie — kapelusz z piórem, jedwabna suknia, mufka, parasolka, porte-cartes i białe prane rękawiczki. Przybrana w te godła, o ile było sucho, szła pieszo od domu do domu w danej dzielnicy, ale posługiwała się omnibusem „z przesiadką”, aby się przenieść do innej. Pierwsze chwile, zanim wrodzona uprzejmość kobieca przebiła wykrochmalenie mieszczyki, pani Cottard, nie bardzo wiedząc, czy należy wspominać Swannowi o Verdurinach, sypała całkiem naturalnie, swoim powolnym, nieśmiałym i łagodnym głosem, ginącym chwilami w grzmocie omnibusu, banalności słyszane i powtarzane w dwudziestu pięciu domach, których piętra przebywała w ciągu dnia:

— Nie pytam pana, czy człowiek tak *au courant* jak pan widział w *Mirlitons* portret Macharda, który ściąga w tej chwili cały Paryż. I co? Co pan o tym powie? Czy pan jest w obozie entuzjastów czy krytyków? We wszystkich salonach mówi się tylko o portrecie Macharda; nie sposób jest być eleganckim, nie jest się na wysokości, jeżeli się nie ma zdania o portrecie Macharda.

Ponieważ Swann odpowiedział, że nie widział tego portretu, pani Cottard zlekła się, że mu sprawiła przykrość, zmuszając go do tego wyznania.

— A, to bardzo ładnie, przynajmniej przyznaje się pan szczerze, nie czuje się pan zhańbiony przez to, że pan nie widział portretu Macharda. Uważam, że to bardzo pięknie z pańskiej strony. Ja widziałam ten portret; otóż zdania są podzielone: jedni uważają, że to jest trochę wylizane, pomadkowe; mnie się wydaje idealny. Oczywiście, to nie jest podobne do niebieskich i żółtych kobiet naszego mistrza. Ale muszę panu wyznać szczerze, będzie pan uważał, że nie jestem dosyć *fin de siècle*, ale mówię, jak myślę, ja tamtego malarstwa nie rozumiem. Mój Boże, uznaję zalety, jakie ma portret mojego męża, to jest mniej dzikie niż to, co robi nasz mistrz zazwyczaj, ale musiał mu zrobić niebieskie wąsy. Za to Machard! Ot, na przykład, mąż przyjaciółki, do której idę w tej chwili (czemu zawdzięczam przyjemność spotkania się z panem), przyrzekł jej, że jeżeli wejdzie do Akademii (to jeden z kolegów mego męża), obstaluje jej portret u Macharda. Oczywiście to piękne marzenie! Mam inną przyjaciółkę, która powiada, że woli Leloir. Ja jestem tylko skromna profanka, a Leloir jest może jeszcze wyższy jako technika. Ale ja uważam, że pierwsza zaleta portretu, zwłaszcza jeżeli kosztuje 10 000 franków, to żeby był podobny i to w przyjemny sposób.

Wygłosiwszy tę przemowę, którą natchnęła jej wysokość własnej egretki<sup>25</sup>, cyfra na *porte-cartes*, numererek naznaczony na rękawiczkach atramentem w pralni oraz kłopotliwość mówienia ze Swannem o Verdurinach, pani Cottard, widząc, że jest jeszcze daleko do stacji, posłuchała serca, które jej doradziło inne słowa:

— Musiało panu w uszach dzwonić — rzekła — w czasie podróży, jaką zrobiliśmy z Verdurinami. Cały czas była mowa o panu.

Swann zdziwił się; przypuszczał, że nigdy nie wymawia się jego nazwiska przy Verdurinach.

— Zresztą — dodała pani Cottard — była z nami pani de Crécy, to wystarczy! Kiedy Odeta gdzieś jest, nigdy nie wytrwa długo bez mówienia o panu. I zgaduje pan, że to,

<sup>25</sup>egretka — ozdoba z piór na kapeluszu a. hełmie rycerskim. [przypis edytorski]

co mówi nie jest dla pana niepochlebne. Jak to! Pan wątpi? — rzekła, widząc sceptyczny gest Swanna.

I porwana szczerością przekonania, nie wkładając zresztą żadnej złej myśli w zwrot, który brała jedynie w sensie serdecznej przyjaźni, ciągnęła:

— Ależ ona ubóstwia pana! Och, nie radziłabym nikomu powiedzieć przy niej ani tyle przeciw panu! Ładnie by się wyglądało! Przy każdej okazji, kiedyśmy oglądali na przykład jakiś obraz, ona mówiła: „A, gdyby Swann tu był, on by nam zaraz powiedział, czy to jest autentyk. Nikt się na tym tak nie rozumie jak on”. I co chwila pytała: „Co on może robić w tej chwili? Żeby tylko pracował trochę! To nieszczęście, człowiek taki zdolny, żeby był taki leń. (Pan mi daruje, nieprawdaż). W tej chwili widzę go, myśli o nas, pyta się, gdzie my jesteśmy”. Powiedziała nawet coś, co mi się wydało bardzo ładne. Kiedy pan Verdurin spytał: „Ależ pani Odeto, jak pani może wiedzieć, co Swann robi w tej chwili, skoro pani jest o siedemset mil?”. Wówczas Odeta odrzekła: „Nic nie jest niepodobne dla oka przyjaźni”. Nie, przysięgam panu, nie mówię tego, żeby panu zrobić przyjemność, ale ma pan w niej szczerą przyjaciółkę, taką jakich nie miewa się dużo. Powiem panu zresztą, jeżeli pan o tym nie wie, jest pan bez konkurencji. Pani Verdurin mówiła mi jeszcze ostatniego dnia (pan wie, że w wilię wyjazdu najlepiej się rozmawia): „Nie powiadam, żeby Odeta nas nie lubiła; ale wszystko, co my jej mówimy niewiele by zaważyło przy tym, co by jej powiedział Swann”. Och, mój Boże, konduktor już zatrzymuje, gadu gadu i byłabym przepuściła ulicę Bonaparte... Będzie pan łaskaw powiedzieć mi, czy moja egretka trzyma się prosto?

I pani Cottard, wyjąwszy rękę z mufki, podała Swannowi dłoń w białej rękawiczce, z której wydzielila się, wraz z biletem na „przesiadkę”, wizja wielkiego świata pomieszana z zapachem benzyny i wonią swą napelniła omnibus. I Swann uczuł przyływ czułości dla pani Cottard, tyleż co dla pani Verdurin i niemal tyle, co dla Odety, uczucie bowiem, jakie żywił dla niej, niepomieszone już z bólem, zaledwie że było jeszcze miłością. I rozczulonym wzrokiem patrzył z platformy za doktorową, jak mężnie wkracza w ulicę Bonaparte z wysoko sterczącą egretką, jedną ręką unosząc spódnicę, drugą trzymając parasolkę i *porte-cartes*, którego cyfry pokazywała, piętując przed sobą mufkę.

Aby przeciwdziałać chorobliwym uczuciom, jakie Swann żywił dla Odety, pani Cottard, lepszy terapeuta, niżby nim był jej mąż, zaszczepiła obok nich inne, normalniejsze; wdzięczność, przyjaźń, uczucia, które w umyśle Swanna miały uczynić Odetę bardziej ludzką, podobniejszą do innych kobiet, skoro inne kobiety mogły w nim również wzbudzać te same uczucia. Ten stan duszy przyspieszył ostateczne przeobrażenie kochanki w ową Odetę kochaną spokojnym przywiązaniem, tę, która ściągnęła go raz po zabawie u mistrza na szklanek oranzady z Forchevillem; Odetę, przy której Swann uczuł, że mógłby być szczęśliwy.

Niegdyś, myśląc często ze zgrozą, iż pewnego dnia mógłby przestać kochać Odetę, Swann przyrzekł sobie być czujnym i z chwilą, gdy spostrzeże, że miłość zaczyna go opuszczać, uczepić się jej, zatrzymać ją. Ale teraz zwątlenie jego miłości schodziło się zgodnie ze zwątleniem chęci ocalenia jej. Bo nie można się zmienić — to znaczy stać się inną osobą — podlegając nadal uczuciom tej, którą się już nie jest. Czasami spotkane w gazecie nazwisko jednego z owych ludzi, których podejrzewał, że byli może kochankami Odety, wskrzeszało w nim zazdrość. Ale ta zazdrość była bardzo nikła; że zaś dowodziła mu, że nie minął dlań jeszcze całkowicie ów czas, kiedy tyle cierpiał — ale też kiedy poznał tak rozkoszne wzruszenia — i że zdoła jeszcze niekiedy w tej podróży spostrzec z daleka i przelotnie piękności drogi, zazdrość ta dawała mu raczej przyjemną podniecię. Tak znużonemu paryżaninowi, który opuszcza Wenecję, aby wrócić do Francji, ostatni moskit dowodzi, że Italia i lato nie są jeszcze zbyt odległe. Swann czuł, że się rozstaje z bardzo osobliwą epoką swego życia; kiedy się silił nie tyle zatrzymać ją, ile zachować bodaj — póki to jeszcze możliwe — jej jasną wizję, spostrzegał, że to jest już niepodobieństwem. Ową miłość, z którą się rozstał, byłby chciał ujrzeć niby krajobraz mający zniknąć; ale tak trudno jest rozdziwić się i odtworzyć sobie prawdziwy obraz uczucia, które w nas zamarło, że niebawem czynił się w mózgu Swanna mrok; nie widział już nic, wyrzekał się patrzenia, zdejmował binokle, przecierał szkła i powiadał sobie, że lepiej odpocząć trochę, że będzie jeszcze czas za chwilę, i pogrążał się w odrętwieniu sennego podróżnego, który nasuwa kapelusz na oczy, aby spać w wagonie unoszącym go coraz szybciej, coraz dalej

od kraju, gdzie żył tak długo. A przyrzekł sobie, że nie pozwoli mu uciec bez ostatniego pożegnania!

Nawet — jak ów podróżny, kiedy się obudzi aż we Francji — skoro Swann natknął się przypadkiem na dowód, że Forcheville był kochankiem Odety, spostrzegł, że mu to nie sprawia żadnego bólu, że miłość jest już daleko, i żałował, że nie wyczuł chwili, w której go opuszczała na zawsze. I tak samo jak przed pierwszym pocałunkiem Odety starał się utrwalić w pamięci twarz, którą miała dlań tak długo i którą miało przeobrazić wspomnienie tego pocałunku, tak samo byłby chciał, w myśli przynajmniej, móc pożegnać — podczas gdy istniała jeszcze — ową Odetę będącą przedmiotem jego miłości, jego zazdrości, ową Odetę sprawiającą mu ból, której teraz już nie ujrzy nigdy.

Mylił się. Miał ją ujrzeć raz jeszcze, w kilka tygodni później. Było to we śnie, w mroku sennego marzenia. Przechadzał się z panią Verdurin, z doktorem Cottard, z młodym człowiekiem w fezie, którego nie mógł rozpoznać, z malarzem, z Odetą, z Napoleonem III i z moim dziadkiem drogą, która szła wzdłuż morza i przewieszała się nad nim to bardzo wysoko, to ledwie o kilka metrów, tak że się wciąż wstępowało pod górę i schodziło w dół. Ci, co schodzili, znikali oczom tych, co jeszcze szli pod górę. Dzień miał się ku schyłkowi; widać było, że za chwilę wszystko ogarnie czarna noc. Chwilami fale uderzały o brzeg i Swann czuł na policzku zimne bryzgi. Odeta mówiła mu, żeby wytarł twarz; ale nie mógł i czuł się zażenowany wobec niej, a także i tym, że był w nocnej koszuli. Miał nadzieję, że w ciemności nikt tego nie spostrzeże, jednakże pani Verdurin przyglądała mu się długo ze zdziwioną miną; przez ten czas Swann widział, jak jej się twarz zmienia, nos wydłuża, i że ma duże wąsy. Odwrócił się, aby popatrzeć na Odetę; twarz miała bladą z czerwonymi punkcikami, rysy ostre i mizerne, ale patrzyła nań oczami pełnymi czułości, gotowymi oderwać się jak lzy i upaść na niego. Czuł, iż ją kocha tak, że byłby ją chciał zaraz zabrać z sobą. Naraz Odeta obróciła dłoń, popatrzyła na mały zegareczek i rzekła: „Muszę już iść”. Pożegnała się jednakże ze wszystkimi, nie biorąc Swanna na bok, nie mówiąc mu, gdzie go zobaczy wieczór albo nazajutrz. Nie śmiał jej pytać, byłby pragnął iść za nią, ale nie mógł się obrócić ku Odecie, zmuszony odpowiedzieć z uśmiechem na jakieś pytanie pani Verdurin; serce biło mu straszliwie, nienawidził Odety, byłby chciał wydrzeć jej te oczy, które tak kochał przed chwilą, zmiażdżyć jej zniszczone policzki. Szedł dalej w górę z panią Verdurin, to znaczy oddalał się z każdym krokiem od Odety, która schodziła w dół w przeciwnym kierunku. Po sekundzie było już kilka godzin, jak odeszła. Malarz zwrócił uwagę Swanna, że Napoleon III wymknął się w chwilę po niej. „To było z pewnością umówione — dodał — musieli się spotkać na dole, ale dla zachowania pozorów nie chcieli się żegnać równocześnie. Ona jest jego kochanką”. Nieznajomy młodzieniec zaczął płakać. Swann próbował go pocieszać. „Ostatecznie ona ma rację — rzekł, ocierając mu oczy i zdejmując mu fez, aby mu było wygodniej. — Ja jej to radziłem sto razy. Czemu się smuć? To był człowiek zdolny ją zrozumieć”. W ten sposób Swann mówił do samego siebie, młodzieniec bowiem, którego nie mógł poznać zaraz, to był także on; jak czynią pewni powieściopisarze, rozdzielił swoją osobowość między dwie postacie, tego, który śnił, i tego, którego miał przed sobą w fezie.

Co się tyczy Napoleona III, to był Forcheville. Jakieś mgliste skojarzenie idei, następnie pewna odmiana zwykłej fizjonomii hrabiego, wreszcie wielka wstęga legii honorowej z orderem na szyi kazały mu dać to miano; ale w rzeczywistości i we wszystkim, co dlań ta osobistość we śnie reprezentowała i co mu przypominała, to był właściwie Forcheville. Bo z mglistych i zmiennych obrazów uśpiony Swann wyciągał fałszywe wnioski, posiadając zresztą chwilami taką siłę twórczą, że rozmnażał się przez prosty podział, niby pewne niższe ustroje; ciepłem własnej dłoni modelował kształt obcej ręki, którą w marzeniu sennym ścisnął; z wrażeń i uczuć, których nie miał jeszcze świadomości, rodził jak gdyby fakty, które swoim logicznym łańcuchem sprowadzały w danym momencie jego snu osobistość potrzebną, aby przyjąć jego miłość lub obudzić go. Nagle zrobiła się zupełna noc; rozległ się dzwon na trwogę; mieszkańcy przebiegli pędem, uciekając z domów w płomieniach; Swann słyszał plusk rozkołysanych fal i swoje serce, które z tą samą gwałtownością waliło z trwogi w jego piersi. Naraz bicie jego serca zdwoiło szybkość, uczył ból oraz dziwne nudności; wieśniak pokryty oparzeniami rzucił mu przechodząc te słowa: „Spytaj Charlusa, dokąd Odeta poszła zakończyć wieczór z koleżanką; on z nią żył

dawniej i ona mu mówi wszystko. To oni podłożyli ogień”. Był to służący Swanna, który go przyszedł obudzić, powiadając:

— Proszę pana, jest ósma, fryzjer czeka; powiedziałem mu, żeby wrócił za godzinę.

Ale te słowa, wnikając w fale snu, w których Swann był pogrążony, doszły jego świadomości z owym odchyleniem, które sprawia, iż w głębi wody promień wydaje się słońcem, tak jak chwilę przedtem odgłos dzwonka, przybierając w głębi tych otchłani dźwięk dzwonu na trwogę, zrodził obecność pożaru. Jednakże dekoracja, jaką Swann miał przed oczami, rozpadła się w proch; otworzył oczy, usłyszał ostatni łoskot oddalającej się fali. Dotknął policzka. Był suchy. A jednak przypomniał sobie wrażenie zimnej wody i smak soli. Wstał, ubrał się. Kazał przyjść fryzjerowi wcześniej, bo napisał w wilię do swojego dziadka, że przyjedzie popołudniu do Combray, dowiedziawszy się, że pani de Cambremer — z domu Legrandin — ma tam spędzić kilka dni. Urok tej młodej twarzy, kojarząc się w jego wspomnieniach z urokiem wsi, której nie oglądał tak długo, skłonił go do opuszczenia wreszcie Paryża na parę dni. Rozmaite przypadki stykające nas z pewnymi osobami, nie schodzą się z czasem, w którym je kochamy, ale wyprzedzając nasze uczucia, mogą się dziać, zanim ów czas się rozpocznie i powtarzać się, kiedy się skończył. Toteż pierwsze zjawienie się w naszym życiu istoty mającej się nam później podobać, przybiera wstecz w naszych oczach wagę ostrzeżenia, przepowiedni. W ten sposób Swann odnosił się często do obrazu Odety spotkanej w teatrze owego pierwszego wieczora, kiedy nie myślał, że ją ujrzy jeszcze kiedy; — tak samo przypominał sobie teraz wieczór u pani de Saint-Euverte, gdzie przedstawił generała de Froberville młodej pani de Cambremer. Sprawy naszego życia tak są złożone, że nierzadko w jednym i tym samym momencie zaczątek nieistniejącego jeszcze szczęścia schodzi się z pogorszeniem zgryzoty, od której cierpimy. Niewątpliwie mogło się to było zdarzyć Swannowi gdzie indziej niż u pani de Saint-Euverte. I kto wie, w razie gdyby tego wieczora znalazł się gdzie indziej, czy by mu się nie nastęrczyły inne rozkosze, inne zgryzoty, które później wydałyby mu się nieuchronne? Tak nieuchronne wydawało mu się to, co zaszło, i gotów był widzieć coś opatrnościowego w tym fakcie, że zdecydował się iść na wieczór do pani de Saint-Euverte. Umysł jego, lubiący podziwiać skarby inwencji życia, niezdolny długo sobie zadawać trudnych pytań i dochodzić, co byłoby bardziej pożądane, widział rodzaj koniecznego łańcucha w cierpieniach, jakich doznał owego wieczora i w niepodejrzewanych jeszcze rozkoszach, które już dlań kielkowały.

Ale kiedy w godzinę po przebudzeniu dawał fryzjerowi wskazówki uczesania go tak, by fryzura nie szochrała się w wagonie, Swann wspominał swój sen. Ujrzał — jak je czuł niegdyś tuż obok — bladą cerę Odety, jej nazbyt szczupłe policzki, pociągłe rysy, podbite oczy, wszystko to w kolejnych fazach czułości, czyniących z jego trwałej miłości do Odety długie zapomnienie pierwotnego jej obrazu. Przestał widzieć to wszystko od pierwszego okresu ich stosunku, w którym z pewnością w owym śnie pamięć Swanna zaczerpnęła dokładne wrażenia. I z owym przelotnym chamstwem, które nawiedzało go od czasu, jak nie był już nieszczęśliwy i jak tym samym obniżył się jego poziom duchowy, wykrzyknął w duchu: „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia, że chciałem umrzeć, że przeżyłem swoją największą miłość dla kobiety, która mi się nie podobała, która nie była w moim typie!”.

## CZĘŚĆ TRZECIA. IMIONA MIEJSCOWOŚCI: IMIĘ

Pośród pokojów, których obraz najczęściej wywoływałem w bezsenne noce, żaden nie był bardziej różny od pokojów w Combray, przyprószonych atmosferą ziarnistą, pyłkowatą, jadalną i nabożną, niż pokój w Grand-Hôtel de la Plage w Balbec, którego mury, powleczone olejną farbą niby gładkie ściany basenu pełnego błękitnej wody, zawierały czyste, lazurkowe i słone powietrze. Monachijski tapicer, któremu powierzono urządzenie tego hotelu, urozmaicił dekorację wnętrz; w pokoju, gdzie mieszkałem, pomieścił z trzech stron, wzdłuż ścian niskie szklane szafy na książki, gdzie, zależnie od ich położenia, nieprzewidywanym efektem odbijała się jakaś partia zmiennego obrazu morza, roztaczając fryz jasnych widoków morskich przerywanych jedynie listwami mahoniu. Cały pokój robił wrażenie owych wzorowych sypialni na wystawach mebli „modern style”, zdobnych dziełami sztuki mającymi cieszyć oczy ich lokatorów, dostrojonymi tematem do okolicy, dla której przeznaczone jest wnętrze.

Ale też nic mniej nie było podobne do rzeczywistego Balbec niż owo Balbec, o którym często roilem w dniu nabrzmiałe burzą, kiedy wiatr był tak silny, że Franciszka, prowadząc mnie na Pola Elizejskie, zalecała, abym nie szedł za blisko ścian, bo dachówka może mi spaść na głowę, i wdychając, mówiła o katastrofach na lądzie i morzu opisanych przez dzienniki. Niczego nie pragnąłem więcej niż widzieć burzę morską, nie tyle jako piękne widowisko, ile jako moment autentycznego życia przyrody; lub raczej nie było dla mnie pięknych widoków poza tymi, o których wiedziałem, że nie sporządzono ich sztucznie dla mojej przyjemności, ale że są konieczne, nieodmienne — jak piękno krajobrazów albo wielkiej sztuki. Byłem ciekawy, żądny poznania jedynie tego, com uważał za prawdziwsze od siebie; co miało dla mnie tę wartość, że mi ukazywało coś z myśli geniusza, siły lub wdzięku natury, takiej jak się objawia sama przez się, bez współdziałania ludzi. Tak samo jak piękny dźwięk głosu naszej matki odtworzony w fonografie nie pocieszyłby nas po jej stracie, tak samo mechanicznie naśladowana burza zostawiłaby mnie obojętnym, podobnie jak świetlne wodotryski na Wystawie. Iżby burza była absolutnie prawdziwa, byłbym pragnął, aby i sam brzeg był brzegiem naturalnym, a nie groblą świeżo wzniesioną przez zarząd gminny. Zresztą natura przez wszystkie uczucia, jakie budziła we mnie, zdawała mi się czymś wręcz przeciwnym do mechanicznych wytworów człowieka. Im mniej nosiła ich piętno, tym więcej sprzyjała moim ekstazom. I zapamiętałem nazwę Balbec, którą nam cytował Legrandin, jako plażę najbliższą owych „posępnych, słynnych tyłoma katastrofami zбочy, które przez sześć miesięcy w roku spowija całun mgieł i piana fal”.

„Czuje się jeszcze pod stopami — powiedział pan Legrandin — o wiele bardziej niż w samym Finistère (choćby nawet wyrosły tam hotele niezdolne skrzywić najstarszego kośćca ziemi), czuje się tam prawdziwy kres ziemi francuskiej, europejskiej, Ziemi starożytnej. I to jest ostatnie obozowisko rybaków, podobnych wszystkim rybakom, jacy żyli od początku świata, na wprost wiekuistego królestwa mgieł morskich i cieniów”. Jednego dnia w Combray wspomniałem o tej plaży przy panu Swannie, aby się dowiedzieć, czy w istocie to jest najlepszy punkt dla oglądania burz. Odpowiedział mi: „Czy znam Balbec? Spodziewam się, że znam! Kościół w Balbec, zabytek XII i XIII wieku, jeszcze na wpół romański, to może najciekawszy wzór normandzkiego gotyku. To jest coś osobliwego: można by rzec sztuka perska!”.

Dotąd wydawały mi się owe wybrzeża jedynie odwieczną naturą, współczesną wielkim geologicznym zjawiskom, czymś równie poza historią ludzką jak Ocean lub Wielka Niedźwiedzica, wraz z owymi dzikimi rybakami, dla których tak samo jak dla wielorybów nie istniało średniowiecze. I jakież to był dla mnie czar widzieć, jak miejsca te wchodziły nagle w serię wieków — świadki epoki romańskiej; dowiedzieć się, że gotyckie trifolium również w danym momencie unerwiło te dzikie skały niby owe wąż, ale żywotne rośliny, które z nadejściem wiosny stroją miejscami śniegi biegunów. A jeżeli gotyk przynosił tym stronom i ludziom jakby określenie, którego im brakło, i one dawały mu je wzajem. Próbowałem sobie wyobrazić, w jaki sposób ci rybacy żyli; odtworzyć nieśmiałą i wiarogodną próbę stosunków społecznych, na jakie się tam zdobyli



w pełni średniowiecza, skupieni na jednym punkcie wybrzeży Piekieł, u stóp tego urwiska śmierci; i gotyk zdawał mi się żywszy teraz, kiedy go ujrzałem w oderwaniu od miast, gdzie go sobie dotąd zawsze wyobrażałem, i kiedy mogłem oglądać jak w tym poszczególnym wypadku wykiełkował na dzikich skałach i zakwitł strzelistą wieżycą. Pokazano mi reprodukcje najslawniejszych posągów z Balbec — krętorunych i płaskonosych apostołów, Matkę Boską z kruchty kościoła, i upajałem się aż do utraty oddechu myślą, że mógłbym widzieć wszystkie te postacie odcinające się na wiecznej i słonej mgle. Wówczas, w burzliwe i łagodne wieczory lutowe wiatr podsuwający memu sercu, którym wstrząsał nie mniej silnie niż kominkiem w moim pokoju, projekt podróży do Balbec, kojarzył we mnie żądzę gotyckiej architektury z pragnieniem burzy morskiej.

Byłbym chciał zaraz nazajutrz wsiąść do pięknego i szlachetnego pociągu pierwsza dwadzieścia dwie. Tej godziny odjazdu nie mogłem nigdy bez wzruszenia ujrzeć w reklamach kolejowych ani w anonsach wycieczek okrężnych; miałem uczucie, że się ona wcinając smakowicie w określony punkt popołudnia, że jest niby tajemniczy znak, od którego począwszy, zwichnięte godziny wiodą jeszcze wprawdzie do wieczora, do jutrzejszego rana, ale zamiast w Paryżu, oglądałoby się je kolejno w owych miastach, przez które pociąg przejeżdża i między którymi pozwalał nam wybierać; zatrzymywał się bowiem w Bayeux, w Coutances, w Vitré, w Questambert, w Pontorson, w Balbec, w Lannion, w Lamballe, w Benodet, w Pont-Aven, w Quimperlé i posuwał się wspaniale obciążony imionami, które mi ofiarowywał i między którymi nie umiałbym wybrać, niezdolny poświęcić którekolwiek z nich. Ale nawet nie czekając tego pociągu, byłbym mógł, ubrawszy się spieszenie, jechać jeszcze tego wieczora, gdyby rodzice mi pozwolili. Przybyłbym do Balbec wówczas, gdy dzień świta nad wściekłym morzem, przed którego rozpiętą pianą schroniłbym się do kościoła w perskim stylu. Ale kiedy się zbliżały ferie wielkanocne, rodzice przyrzekli mi, że będę mógł je raz spędzić w północnych Włoszech. I oto w miejsce wypełniających mnie całkowicie marzeń o burzy, w miejsce tęsknoty do fal zbiegających się zewsząd, wciąż wyżej, na najdzikszy brzeg, blisko kościołów urwistych i chropawych jak skały nadbrzeżne, o wieżycach, w których krzyczą ptaki morskie, oto nagle, zacierając te wizje, odbierając im wszelki urok, odsuwając je jako coś sprzecznego mu i wrogiego, zjawiało się marzenie o przebarwnej wiosnie, nie o wiosnie w Combray klującej jeszcze igiełkami szronu, ale o tej, która już okrywała liliami i anemonami pola Fiezole i olśniewała Florencję złotym tłem niby na obrazach Fra Angelico. Z tą chwilą jedynie promienie, zapachy, barwy miały dla mnie cenę; kolejność bowiem obrazów sprowadziła zmianę frontu pragnień, zupełną zmianę tonacji uczuć — nagle, jak bywa niekiedy w muzyce.

Potem zdarzało się, że proste wahania atmosferyczne wystarczały, aby wywołać we mnie ten skutek, nie czekając na powrót pory roku. Często bowiem w jednej porze napotyka się zablakany dzień z innej pory, który nas w nią przenosi, wywołuje natychmiast żądzę jej swoistych rozkoszy i przerywa marzenia, jakieśmy właśnie snuli, mieszcząc — przedwcześnie lub z opóźnieniem — poza właściwą koleją — kartkę wydartą z innego miejsca z kalendarza Szczęścia. To są zjawiska naturalne, z których nasza wygoda lub zdrowie mogą wycisnąć jedynie przygodną i dosyć nikłą korzyść, aż do dnia, gdy zjawiska te opanuje wiedza i wytwarzając je do woli, da nam w ręce możliwość ich wywoływania, wolną od opieki przypadku, ale odartą z jego uroków. Z czasem budzenie się owych marzeń o Atlantyku i o Włoszech przestało dla mnie podlegać wyłącznie wpływom pór roku i pogody. Aby je wskrzесиć, wystarczyło mi wymówić po prostu te nazwy: Balbec, Wenecja, Florencja, w których wnętrzu skupiło się wreszcie pragnienie zrodzone we mnie z oznaczonych nimi miejscowości. Wystarczało mi — nawet wiosną — spotkać w książce nazwę *Balbec*, aby uczuć łaknienie burz i normandzkiego gotyku; słowa Florencja lub Wenecja rodziły znowuż we mnie — nawet w dniu burzy — żądzę słońca, lilii, pałacu dożów i Santa Maria dei Fiori.

Ale jeżeli te nazwy na zawsze wchłonęły dla mnie imaginacyjne obrazy owych miast, dokonały tego jedynie przeobrażając je, poddając zjawianie się ich we mnie swoistym prawom. Stały się one czymś piękniejszym, ale bardzo różnym od tego, czym miasta Normandii lub Toskanii mogły być w rzeczywistości; potęgując samorodne ekstazy mojej wyobraźni, zwiększały zarazem przyszłe rozczarowania podróży. Wyolbrzymiały moje pojęcia o pewnych miejscowościach, czyniąc je czymś bardziej odrębnym, tym samym

rzeczywistszym. W owym czasie miasta, krajobrazy, gmachy to nie były dla mnie mniej lub więcej powabne obrazy, wycięte przypadkowo z jednej i tej samej materii; przeciwnie, każdy z nich był czymś nieznanym, zasadniczo różnym od innych, których moja dusza łaknęła i których poznanie byłoby dla niej z korzyścią. Ileż przydało im jeszcze indywidualności to, że miały imiona właściwe jedynie im, imiona takie, jakie mają osoby. Słowa zmieniają nam rzeczy w jasny i praktyczny obrazek w rodzaju tych, które się wieszają na ścianach w szkole, aby dać dzieciom wyobrażenie o tym, co jest warsztat, ptak, mrowisko — rzeczy podobne do wszystkich innych tego rodzaju. Inna rzecz imiona osób oraz miast, które właśnie dzięki swoim imionom stają się dla nas czymś indywidualnym, jedynym jak osoby. Tu imiona stwarzają w nas mglisty obraz wydobywający z nich, z ich lśniącego lub ciemnego dźwięku, kolor, którym osoba lub miasto pomalowane są jednostajnie niby owe afisze całkowicie niebieskie lub czerwone, gdzie wskutek warunków zastosowanej techniki lub przez kaprys dekoratora niebieskie i czerwone są nie tylko niebo i morze, ale łódki, kościoły i ludzie. Nazwa Parmy (jednego z miast, które najbardziej pragnąłem oglądać od czasu, jak czytałem *Pustelnię Parmeńską*), objawiła mi się jednolita, gładka, w delikatnym kolorze lila; kiedy mi wspomniano o jakimś domu w Parmie, gdzie będę mógł gościć, obudzono we mnie słodycz myśli, że będę mieszkał w mieszkaniu gładkim, jednolitym, delikatnego koloru lila. Mieszkanie to nie miało związku z żadnym innym we Włoszech, skorom je sobie wyobrażał jedynie przy pomocy owej sylaby ciężkiej nazwą *Parmy* i pozbawionej przewiewu, oraz wszystkim, co w nie wlałem ze Stendhalowskiej słodyczy i z połysku fiołków. A kiedy myślałem o Florencji to jak o mieście cudownie pachnącym i podobnym do korony kwiatu, skoro zwało się miastem lilii, a jego katedra Santa Maria dei Fiori. Co się tyczy Balbec, było to jedno z imion, gdzie niby w starych normandzkich garnkach, zachowujących kolor ziemi, z której je dobyto, widzi się jeszcze obraz jakiegoś zagubionego obyczaju, feudalnego prawa, dawnego wyglądu miejscowości, staroświeckiej wymowy, która utworzyła jej dziwaczne sylaby i którą — byłem tego pewny — odnajdę w ustach oberżysty podającego mi kawę z mlekiem i pokazującego mi wzburzone morze przed kościołem. I wierzyłem, że odnajdę u niego swarliwe, uroczyste i średniowieczne wzięcie<sup>26</sup> bohatera dawnych *fabliaux*.

Gdybym się miał lepiej i gdyby rodzice się zgodzili, abym się wybrał do Balbec, jeżeli nie na dłużej, to przynajmniej na wycieczkę, dla zapoznania się z architekturą i z widokami Normandii lub Bretanii; — owym pociągiem *pierwsza dwadzieścia dwie*, w który tyle razy wsadzałem w wyobraźni, byłbym pragnął zatrzymać się w najładniejszych miastach; ale daremnie je porównywałem: jak wybrać między istotami indywidualnymi, niezamiennymi z sobą: Bayeux, tak dumne w swojej szlachetnej rdzawej koronce ze szczytem rozświetlonym starym złotem jego ostatniej sylaby; Vitre, którego akcent nad *é* oprawiał w czarne drzewo starodawny witraż; słodkie Lamballe w białości swojej przechodzące od żółtawej skorupki jajka aż do tonów perłowszarych; Coutances — normandzka katedra, którą jej końcowy dyftong, żółtawy i tłusty, wieńczy niby wieżę z masła; Lannion — w ciszy wiejskiej turkot koczobryka, nad którym brzęczy mucha; Questambert, Pontorson — pocieszne i naiwne, białe pióra i żółte dzióbki rozdziawione na drodze w tej poetycznej i obfitej w wodę okolicy. Benodet, nazwa zaledwie przycumowana, robiąca wrażenie, jakby chciała wciągnąć rzekę między swoje algi; Pont-Aven, biały i różowy ruch skrzydła lekkiego czepka, który odbija się drżący w zielonkawej wodzie kanału; Quimperlé, od średniowiecza mocniej osadzone między strumieniami, którymi gaworzy i perli się w siatce podobnej do tej, którą poprzez pajęczyny witrażu rysują promienie słońca zmienione w ostrza oksydowanego srebra!

Te obrazy były fałszywe z innej jeszcze racji; mianowicie były siłą rzeczy bardzo uproszczone; z pewnością to, do czego dążyła moja wyobraźnia i co moje zmysły odczuwały na razie niepełno i bez przyjemności, to zamknąłem w sanktuarium imion; jak ja skupiłem w nich swoje marzenie, tak one teraz magnesowały moje tęsknoty. Ale imiona nie są zbyt przestronne; co najwyżej mogłem w nie wprowadzić parę ważniejszych „osobliwości” miasta skupiających się tam bez pośrednich ogniwi. W nazwie *Balbec* niby w powiększającym szkle owych obsadek, które się kupuje w morskich kąpieliskach, widziałem wzburzone fale obok kościoła w perskim stylu. Może nawet uproszczenie tych obrazów było

<sup>26</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

jedną z przyczyn władzy ich nade mną. Jednego roku ojciec zdecydował, że pojedziemy na Wielkanoc do Florencji i do Wenecji. Nie mając miejsca na to, aby w nazwę Florencji wprowadzić elementy, które zazwyczaj składają miasto, musiałem stworzyć sobie miasto nadprzyrodzone, zapładniając pewnymi wiosennymi zapachami to, com uważał za geniusz Giotta w samej jego istocie. Ale, ponieważ nie da się w nazwie zawrzeć o wiele więcej trwania niż przestrzeni, podzieliłem sobie nazwę Florencji na dwie partie, niby obrazy Giotta ukazujące jedną i tę samą osobę w dwóch momentach: tu leżącą na łóżku, ówdzie gotującą się dosiąść konia. Na jednym obrazie oglądałem pod kamiennym baldachimem fresk, częściowo przykryty zasłoną z rannego słońca, zakurzoną, skośną i ruchomą. Ale ponieważ nazwa nie była dla mnie niedostępnym ideałem, lecz realną atmosferą, w jakiej miałem się zanurzyć, życie nieprzeżyte jeszcze, życie nietknięte i czyste, które w niej mieściłem, dawało najmaterialniejszym przyjemnościom, najprostszym scenom powab właściwy dziełom prymitywów. Toteż w drugim obrazie przebywałem szybko Ponte-Vecchio zawalony żonkilami, narcyzami i anemonami, aby wcześniej zdążyć na oczekujące mnie śniadanie z owocami i winem Chianti.

Oto co — mimo iż będąc w Paryżu — widziałem, nie zaś to, co było dokoła mnie. Nawet z punktu widzenia prostego realizmu upragnione przez nas krainy zajmują w każdej chwili w naszym prawdziwym życiu o wiele więcej miejsca niż kraj, gdzie znajdujemy się istotnie. Bez wątpienia, gdybym wówczas więcej zwracał uwagi na to, co było w mojej myśli, kiedy wymawiał słowa „jechać do Florencji, do Parmy, do Pizy, do Wenecji”, byłbym sobie zdał sprawę, że to, com widział, nie było wcale miastem, ale czymś równie odrębnym od wszystkiego, co znałem, równie rozkosznym, jak dla ludzkości żyjącej stale w zmierzchu zimowym byłby ten nieznaną cud: wiosenny poranek.

Te nierealne, stałe, zawsze jednakże obrazy wypełniające mi noce i dnie, różnicowały tę epokę mojego życia od innych, które ją poprzedziły i które mogły się być z nią stopić w oczach obserwatora widzącego rzeczy jedynie od zewnątrz, to znaczy niewidzącego nic. Tak w operze motyw melodii wprowadza nowość niepodjęwaną przez kogoś, kto by jedynie czytał libretto, a jeszcze mniej przez kogoś, kto by stał zewnątrz teatru, licząc jedynie upływające kwadranse. I nawet z tego czysto ilościowego punktu widzenia dnie w naszym życiu nie są równe. Natury nieco nerwowe, jak moja, przebiegając dnie, rozporządzają na kształt samochodów różnymi „szybkościami”. Bywają dnie górzyste i uciążliwe, dla których przebycia trzeba nieskończonego czasu; bywają dnie spadziste, z których zjeżdża się pędem, śpiewając.

Przez ten miesiąc powtarzałem owe obrazy Florencji, Wenecji i Pizy niby melodię, nie mogąc się nią nasycić. Pragnienie, jakie we mnie budziły, zachowało coś równie głęboko indywidualnego, co gdyby to była miłość, miłość dla jakiejś osoby. Nie przestawałem wierzyć, że one odpowiadają jakiejś niezależnej ode mnie rzeczywistości; dały mi poznać nadzieję równie piękną jak ta, którą mogliby żywić pierwsi chrześcijanie w wilię wejścia do Raju. Toteż nie troszczyłem się o sprzeczność kryjącą się w żądzy oglądania i dotykania organami zmysłów czegoś wypracowanego marzeniem, niepochwytne dla zmysłów, a równocześnie tym bardziej dla nich kuszące, tym różniejszego od wszystkiego, co dotąd poznały. I to właśnie przypominało mi realność owych obrazów; to najbardziej rozpalalo moje pragnienia; bo to była jakby obietnica, że będą zaspokojone. I mimo że źródłem mojej egzaltacji była żądza wzruszeń artystycznych, zwykły Baedeker podtrzymywał ją jeszcze skuteczniej niż podręczniki estetyki, a bardziej jeszcze od Baedekera — kolejowe rozkłady jazdy. Wzruszyła mnie myśl, że o ile przestrzeń dzieląca ode mnie ową Florencję mojej wyobraźni, tak bliską, a tak niedostępną, nie była we mnie samym drożna, mogłem ją osiągnąć niejako okrężnie, „drogą lądową”. O Wenecji powtarzałem sobie — przydając w ten sposób ileż wartości temu, co miałem zobaczyć — że Wenecja to jest „szkoła Giorgione, siedziba Tycjana, najkompletniejsze muzeum urbanistycznej architektury średniowiecza” — i czułem się szczęśliwy. Szczęście to wzrosło jeszcze, kiedy, wyszedłszy na miasto, idąc szybko z powodu pogody, która po kilku dniach przedwczesnej wiosny stała się z powrotem czymś bardzo podobnym do zimy, jaką zastawaliśmy zazwyczaj w Combray w Wielkim Tygodniu — ujrzałem na bulwarach kasztany. Zanurzone w powietrzu lodowatym i płynnym jak woda rozpoczynały — niby punktualni goście, już w galowym stroju, nie zrażający się niczym — wzdymać i rzeźbić na swoich zmarzniętych konarach nieodpartą zieleń, której wybuchowi przeszkadzały wrogie siły

Czas

zimna, nie zdołając go poskromić. I pomyślałem nagle, że Ponte-Vecchio już ścięły się hiacyntami i anemonami, że słońce wiosenne już barwi fale Canale Grande tak ciemnym lazurem i tak szlachetnymi szmaragdami, iż łamiąc się u stóp obrazów Tycjana, mogłyby rywalizować z nimi bogactwem koloru. Nie mogłem powstrzymać radości, kiedy ojciec, zasięgając rady barometru i ubolewając nad zimnem, zaczął rozważać najlepsze pociągi; kiedym zrozumiał, że wchodząc po śniadaniu do zakopconego laboratorium, do magicznego pokoju zdolnego przeobrazić wszystko dokoła siebie można się nazajutrz zbudzić w mieście z marmuru i złota, „strojnym jaspisem i brukowanym szmaragdami”. Zatem Wenecja i *Miasto lilii* nie są jedynie fikcyjnymi obrazami, którymi się igra w wyobraźni, ale istnieją w pewnej odległości od Paryża, którą trzeba absolutnie przebyć, o ile się chce je widzieć, w pewnym określonym miejscu na ziemi — tym, a nie innym, — słowem, że są bardzo rzeczywiste. Stały się jeszcze rzeczywistsze dla mnie, kiedy ojciec, powiadając: „Ostatecznie mógłbyś zostać w Wenecji od 20 do 29 kwietnia, a przyjechać do Florencji w Pierwsze Święto rano”, wydobyl oba miasta nie tylko z oderwanej Przestrzeni, ale z owego urojonego Czasu, gdzie mieścimy naraz niejedną podróż, ale i inne, równoczesne, i to bez zbytniego wzruszenia wobec tego, że są tylko *możliwe*; z owego Czasu, który odradza się tak skutecznie, iż można go jeszcze spędzić w jednym mieście, spędziwszy go w innym. I ten fakt, że ojciec poświęcił owym miastom specjalne dni, stał się świadectwem autentyczności przedmiotów, na które owe dni były przeznaczone; te bowiem jedyne dni niszczą się w użyciu, nie wracają, nie można ich przeżyć w jednym miejscu, skoro się je przeżyło w innym. Uczulem, że owe dwie królowe miast, których katedry i wieże miałem na zasadzie jakże wzruszającej geometrii wpisać w plan własnego życia, kierują się ku tygodniowi zaczynającemu się od poniedziałku, kiedy praczka miała odnieść białą kamizelkę poplamioną przeze mnie atramentem — aby wsiąknąć w ów tydzień, opuściwszy idealny czas, w którym nie istniały jeszcze. Ale byłem dopiero w drodze ku szczytowi upojenia; dosięgłem go wreszcie, kiedym usłyszał z ust ojca: „Musi być jeszcze zimno na Canale Grande; warto, żebyś zapakował na wszelki wypadek zimowe palto i ciepłą kamizelkę”. To mi dopiero dało objawienie, że na pluskających ulicach, zaczerwienionych odbłaskiem Giorgione’a, mogliby się przechadzać po Wenecji w przyszłym tygodniu, w wilię Świąt Wielkanocnych, nie — jak mimo tylu otrzeźwień wciąż roilem — ludzie „majestatyczni i straszliwi jak morze, połyskujący brązem pancerzy pod fałdami krwawego płaszcza”, ale że to ja sam mógłbym być ową maleńką figurką, którą na wielkiej fotografii kościoła Św. Marka ilustrator pokazał stojącą w meloniku przed portalem. Te słowa wprawiły mnie w ekstazę: uczulem — do tej pory zdawało mi się to niemożliwe — że naprawdę wnikać między te „ametystowe skały podobne do raf Morza Indyjskiego”; wspaniałym i przewyższającym moje siły gestem zrzucając z siebie, niby zbyteczną skorupę, atmosferę mego pokoju, zastąpiłem ją odpowiednią porcją powietrza Wenecji, owej atmosfery morskiej, niewysłowionej i odrębnej, jak atmosfera marzeń, które wyobraźnia moja zawarła w nazwie *Wenecja*. Uczulem, że się we mnie spełnia cudowne odcieleśnienie; niebawem spotęgowało się ono uczuciem nudności, jakiego się doznaje przy silnym bólu gardła; położono mnie do łóżka z dużą gorączką, a doktor oświadczył, iż trzeba mi się wyrzec Florencji i Wenecji nie tylko na teraz, ale że nawet kiedy całkowicie wyzdrowieję, powinienem co najmniej przez rok unikać wszelkich projektów podróży i przyczyn wzruszenia.

Niestety zabronił mi także bezwarunkowo teatru i oglądania Bermy. Wspaniała artystka, którą Bergotte miał za istotę genialną, byłaby mi wynagrodziła to, że nie był we Florencji i w Wenecji i że nie jadę do Balbec, dając mi w zamian poznać coś może równie ważnego i pięknego. Poprzestano na posyłaniu mnie co dzień na Pola Elizejskie pod dozorem osoby, która by mi się nie dała zmęczyć. Była nią Franciszka, która wstąpiła do nas na służbę po śmierci cioci. Niecierpiałem chodzić na Pola Elizejskie. Gdybyż bodaj Bergotte opisał je w którejś książce! — wówczas z pewnością byłbym je chciał poznać, jak wszystkie rzeczy, których model najpierw włożono mi w wyobraźnię. Wyobraźnia ogrzewała je, dawała im życie, osobowość i budziła we mnie chęć odnalezienia ich w rzeczywistości; ale w tym publicznym ogrodzie nic nie wiązało się z moimi marzeniami.

Jednego dnia, kiedy się nudziłem na naszym zwykłym miejscu w pobliżu karuzeli, Franciszka zabrała mnie na wycieczkę poza granicę, której w nierównych odstępach strzegą stragany z landrynkami; w owe regiony pobliskie, ale obce, gdzie twarze są nieznanne i gdzie przejeżdża wózek zaprzężony w kozy. Potem Franciszka wróciła zabrać rzeczy z krzesła obok klombu laurów; czekając na nią, deptałem wielki, mizerny, ostrzyżony, pożółkły od słońca trawnik, na którego krańcu wznosi się nad basenem posąg. Naraz jakaś dziewczynka, kładąca właśnie płaszcz i chowająca rakieta, krzyknęła ostrym głosem do drugiej, rudowłosej, grającej w wolanta koło basenu: „Do widzenia, Gilberto, idę już; nie zapominaj, że mamy być u ciebie po obiedzie”.

To imię Gilberty przeszło koło mnie, wywołując istotę, którą oznaczało, tym skuteczniej, że określało ją nie tylko jak kogoś nieobecnego, o kim się mówi, ale wołało ją wprost. Tak przeszło obok mnie to imię, można powiedzieć, *czynnie*; z siłą, którą zwiększała krzywizna rzutu i rosnąca bliskość celu; przeszło — czułem to — niosąc z sobą świadomość, wiedzę o tej, do której głos się zwracał; wiedzę nie moją, ale wołającą ją przyjaciółki; wszystko, co wymawiając to słowo widziała lub bodaj posiadała w pamięci; ich codzienną zażyłość, wzajemne odwiedziny, całe owo Nieznane, bardziej jeszcze dla mnie niedostępne i bolesne przez to, że było tak łatwe dla tej szczęśliwej dziewczynki, muskającej mnie wyzywająco tym Nieznany i rzucającej je w powietrze w jednym krzyku. I już, wydzielając się z tego krzyku, bujała w powietrzu rozkoszna emanacja jakichś niewidzialnych momentów życia panny Swann, wieczora mającego nadejść — ściśle owego wieczora po obiedzie u niej; okrzyk ten, niebiański wysłannik biegnący pośród dzieci i bon, utworzył obłoczek przedziwnego koloru, podobny temu, który sfalowany nad pięknym ogrodem Poussina odbija szczegółowo, niby chmura w Operze pełna koni i wozów, jakieś zjawisko z życia bogów; — okrzyk ten wreszcie rzucił na pożółkłą trawę, w miejsce będące zarazem kawałkiem zwiędłego trawnika i chwilą popołudnia jasnowłosej dziewczynki z wolantem (która nie przestała podrzucać go i łapać, dopóki jej nie zawołała nauczycielka z błękitnym piórkiem), cudowną smugę barwy heliotropu, nieuchwytną jak cień i narzuconą jak dywan, od którego nie mogłem oderwać swoich zadumanych, tęsknych i niedyskretnych kroków, gdy Franciszka krzyczała na mnie: „Paniczu, trzeba zapnąć paleta i do domu”; a ja zauważyłem, że służąca wyraża się gminnie i że, niestety, nie ma niebieskiego piórka na kapeluszu.

Czy ona wróci bodaj na Pola Elizejskie? Nazajutrz nie było jej; ale ujrzałem ją w następne dni. Kręciłem się cały czas koło miejsca, gdzie bawiła się z przyjaciółkami, tak że jednego razu, kiedy nie było ich dosyć do gry w klasy, kazała mnie zapytać, czy chcę należeć do ich obozu. Odtąd grałem z Gilbertą za każdym razem, kiedy tam była. Ale to nie zdarzało się co dzień; były dni, że nie mogła przyjść: lekcje, katechizm, podwieczorek, całe owo odrębne życie, które dwa razy, zagęszczone w imieniu Gilberty, przeszło tak boleśnie koło mnie, na ścieżce w Combray i na trawniku Pól Elizejskich. W te dni oznajmiała z góry, że nie przyjdzie; jeżeli było to z powodu lekcji, mówiła: „To piła, nie będę mogła przyjść jutro; będziecie się bawili beze mnie”. Mówiła to ze strapioną miną, która mnie pocieszała trochę; ale w zamian, kiedy Gilberta była gdzieś zaproszona i kiedy, nie wiedząc o tym, spytałem, czy przyjdzie się bawić, odpowiadała: „Spodziewam się, że nie! Spodziewam się, że mamusia pozwoli mi iść do przyjaciółki”. Przynajmniej w te dni wiedziałem, że jej nie zobaczę; ale kiedy indziej matka zabierała ją niespodzianie na miasto i nazajutrz Gilberta powiadała: „A tak, chodziłam z mamą” jako rzecz naturalną, niebędącą dla kogoś drugiego największym nieszczęściem. Bywały też słotne dni, kiedy nauczycielka Gilberty, bojąc się deszczu, nie chciała z nią iść na Pola Elizejskie.

Toteż kiedy niebo było wątpliwe, od rana nie przestawałem na nie spoglądać, rozważając wszystkie znaki. Widząc damę z przeciwka, jak przy oknie kładzie kapelusz, mówiłem sobie: „Ta pani wychodzi, jest zatem pogoda możliwa do wyjścia; czemu Gilberta nie miałaby zrobić jak ta pani?”. Wśród tego chmurzyło się, mama mówiła, że może się jeszcze przetrze, że wystarczyłby na to jeden promień słońca, ale że raczej będzie deszcz; a jeżeli będzie deszcz, po co chodzić na Pola Elizejskie? Toteż od śniadania moje trwożliwe spojrzenia nie opuszczały już niepewnego i chmurnego nieba. Wciąż było ciemno. Za oknem balkon był szary. Na posępnym kamieniu nie znać było ani śladu żywszego koloru; ale czułem, niby wysiłek ku żywsemu kolorowi, drganie niepewnego promienia, żądne wyzwolić swoje światło. W chwilę potem balkon był błydy i zwierciadlany

jak woda poranna, pocętkowany tysiącem refleksów żelaznej kraty. Podmuch wiatru rozpraszał je, kamień ciemniał na nowo, ale, jak gdyby oswojone, refleksy wracały; kamień zaczynał nieznacznie bieleć i w nieustannym *crescendo* podobnym temu, które w muzyce z końcem uwertury wytrzymuje jedną nutę aż do ostatniego *fortissimo*, prowadząc ją szybko przez wszystkie pośrednie stopnie, widziałem, jak dochodzi do owego nieskażonego i trwałego złota pogodnych dni, na którym zębaty cień balustrady, niby kapryśna roślinność, odcinał się czarno, z subtelnością szczegółów zdradzającą jakby świadomy wysiłek, zadowolenie artysty i z taką plastyką, z taką miękkością w bezwładnie ciemnych i szczęśliwych płaszczyzn, że w istocie owe szerokie i liściaste cienie spoczywające na tym jeziorze słońca zdawały się widzieć, że są zakładnikami spokoju i szczęścia.

Nietrwały bluszczu, nikły pnączu, bezbarwny, najsmutniejszy, zdaniem wielu, ze wszystkich roślin, które pelzają po murze lub stroją okna; dla mnie ze wszystkich najdroższy od dnia, kiedy zjawił się na naszym balkonie niby cień obecności Gilberty będącej już może na Polach Elizejskich i mającej, skoro tylko się zjawię, wykrzyknąć: „Już! już! gramy w klasy, jesteś w moim obozie”; wąż roślino unoszona wiatrem, ale związana już nie z porą roku, lecz z godziną; obietnico doraźnego szczęścia, które dzień zniweczy lub spełni, tym samym szczęścia najbezpośredniejszego, szczęścia miłości, miększa, cieplejsza na kamieniu niż sam mech; tak żywotna, że wystarczy jej jednego promienia, aby się urodzić i wzbudzić radość nawet w pełni zimy!

I nawet w owe dni, kiedy wszelka inna roślinność znikła, kiedy piękna zielona skóra otulająca pnie starych drzew skryła się pod śniegiem, kiedy śnieg przestał padać, ale czas był zbyt pochmurny, aby można było spodziewać się Gilberty, naraz na śnieżnym płaszczu pokrywającym balkon słońce, zjawiwszy się na chwilę, plotło złote nitki i haftowało czarne cienie. Wówczas matka mówiła: „O, robi się ładnie, mógłbyś jednak spróbować iść na Pola Elizejskie”. W taki dzień nie zastawaliśmy nikogo lub jakąś odchodzącą już właśnie dziewczynkę, która mówiła, że Gilberta nie przyjdzie. Krzesła, opuszczone przez imponujące albo bojące się zimna zebranie guwernantek, były próżne. Jedyne koło trawnika siedziała dama w pewnym wieku, która przychodziła w każdą pogodę, zawsze wysztafirowana w podobną tualetę, wspaniała i ciemna. Aby z nią zawrzeć znajomość, byłbym wówczas — gdyby można było uczynić taką zamianę — oddał najwspanialsze nadzieje mego życia. Bo Gilberta podchodziła co dzień przywitać się z nią; dama pytała Gilbertę o „jej uroczą mamusię”; miałem uczucie, że gdybym ją znał, byłbym dla Gilberty czymś zupełnie innym, kimś, kto zna znajomych jej rodziców. Podczas gdy jej wnuki bawiły się opodal, dama czytała zawsze *Debaty*, o których mówiła „moje stare *Debaty*”, tak jak przez arystokratyczny fason mówiła o policjancie lub o kobiecie wynajmującej krzesła: „Ten policjant, to mój stary przyjaciel”, „z tą kobiecina od krzesel jesteśmy stare przyjaciółki”.

Franciszce było za zimno, aby mogła pozostać bez ruchu; poszliśmy tedy aż do Mostu Zgody popatrzeć na zmarzniętą Sekwanę, do której wszyscy, nawet dzieci, zbliżali się bez obawy, niby do olbrzymiego, wyciągniętego na brzeg bezbronnego wieloryba, czekającego na ćwiartowanie. Wracaliśmy przez Pola Elizejskie; omdlewałem z bólu między nieruchomymi końmi karuzeli a białym trawnikiem ujętym w czarną sieć alej, z których usunięto śnieg i gdzie statua miała w ręce dodatkowy sopel lodu, będący niby wytłumaczeniem jej gestu. Nawet stara dama, złożywszy *Debaty*, spytała o godzinę przechodzącej bony, której podziękowała, mówiąc: „Jaka pani miła!”, po czym, poprosiwszy dozorcę, aby powiedział jej wnukom, żeby wróciły, dodała: „Będzie pan niesłychanie dobry! Doprawdy! Zawstydzia mnie pan!”. Naraz powietrze się rozdarło; pomiędzy teatrem marionetek a cyrkiem, na rozjaśnionym horyzoncie, na rozwartym niebie ujrzałem niby bajkowy znak błękitne pióro mademoiselle. I już Gilberta biegła pędem ku mnie, błyszcząca i czerwona pod futrzaną czapczką, ożywiona zimnem, spóźnieniem i żądzą zabawy; zanim dobiegła do mnie, zrobiła glisadę na lodzie i czy to dla ocalenia równowagi, czy że jej się to wydało ładniejsze lub udając, że się ślizga, biegła ku mnie z szeroko otwartymi ramionami, jakby mnie chciała w nie przyjąć. „Brava! Brava! to bardzo ładnie, powiedziałabym jak wy, że to »szyk«, że to »klasa«, gdybym nie była z innej epoki, *ancien regime*”, wykrzyknęła stara dama, przemawiając w imieniu milczących Pól Elizejskich, aby podziękować Gilbercie, że przyszła, nie dając się odstraszyć zimnu. „Jesteś, dziecko jak ja wierna, na przekór wszystkiemu, naszym starym Polom Elizejskim; obie jesteśmy nieustraszone. Powiem ci, że ja

je kocham nawet takie, jak są dziś. Będzicie się śmiali ze mnie, ale ten śnieg przypomina mi gronostaje!” I stara dama zaczęła się śmiać.

Pierwszy z owych dni — którym śnieg, obraz potęg zdolnych pozbawić mnie widzenia Gilberty, dawał melancholię dnia pożegnania, a nawet dnia wyjazdu, ponieważ zmieniał wygląd, niemal charakter zwyczajnego miejsca naszych jedyńskich widzeń, obecnie zmienionego, spowitego w pokrowce — ten dzień zaznaczył jednak postęp mojej miłości, był jak gdyby pierwszym zmartwieniem, które Gilberta podzieliła ze mną. Było tylko nas dwoje z naszej bandy; znaleźć się samemu z nią, to był nie tylko jakby początek zażyłości, ale zarazem z jej strony coś bardzo wzruszającego: tak jakby ona przyszła tylko dla mnie, w taki czas! To było niemal tak, jak gdyby Gilberta w jeden z owych dni, kiedy była zaproszona do przyjaciółki, wyrzekła się wizyty, aby się ze mną spotkać. Nabierałem wiary w żywotność i w przyszłość naszej przyjaźni, która została żywa pośród odrętwienia, pustki i ruin otaczających rzeczy. I podczas gdy Gilberta wpuszczała mi gałki śniegu za koltarz, przyjmowałem z rozkliwionym uśmiechem to, co mi się zdawało i wyrazem sympatii, jaką mi okazuje, przyjmując mnie za towarzysza podróży w tym nowym zimowym kraju, i dowodem wierności, jakiej mi dochowuje w nieszczęściu. Zaczęliśmy się bawić. Było widocznie przeznaczone, aby dzień tak smutno rozpoczęty skończył się w radości; bo kiedy przed rozpoczęciem „klas” podszedłem do owej przyjaciółki, która pierwszego dnia wołała przenikliwym głosem Gilbertę, odrzekła: „Nie, nie, wszyscy wiedzą, że kawaler woli być w obozie Gilberty; zresztą kawaler widzi, że ona daje znaki”. Wzywała mnie w istocie na zaśnieżony trawnik do swego obozu, któremu słońce dawało różowe blaski i patynę starych brokatów, czyniąc zeń obóz złotogłowa.

Ów dzień, którego tak się bałem, stał się przeciwnie jednym z dni, w których nie byłem nazbyt nieszczęśliwy.

Bo ja myślałem już tylko o tym, aby nigdy nie przeżyć dnia bez widzenia Gilberty. Tak dalece, że kiedy raz babka nie wróciła na czas na obiad, nie mogłem się wstrzymać od nagłej myśli, iż gdyby ją powóz przejechał, nie mógłbym jakiś czas chodzić na Pola Elizejskie; nie kocha się już nikogo z chwilą, kiedy się kocha! Mimo to owe spędzane z Gilbertą chwile, których od poprzedniego wieczora tak niecierpliwie oczekiwałem, o które drżałem, dla których byłbym wszystko poświęcił, nie były bynajmniej szczęśliwe; wiedziałem to dobrze, bo to były jedyne chwile, na których skupiałem drobiazgową i zacieklą uwagę, nie mogąc w nich odkryć ani atomu przyjemności.

Przez cały czas, który byłem z dala od Gilberty, pragnąłem ją widzieć, bo siląc się bez ustanku wywołać jej obraz, nie mogłem w końcu tego osiągnąć i nie wiedziałem już sam, czemu odpowiada moja miłość. Przy tym ona mi nigdy jeszcze nie powiedziała, że mnie kocha. Wręcz przeciwnie, często twierdziła, że ma przyjaciół, których woli ode mnie; że jestem ot, dobry kompan, z którym bawi się chętnie, mimo że jestem zbyt roztargniony, nie dość oddany zabawie; często wreszcie okazywała mi chłód, który mógłby zachwiać moją wiarę, że jestem dla niej czymś różnym od innych, gdyby ta wiara miała źródło w miłości Gilberty dla mnie, nie zaś, jak było w istocie, w mojej miłości dla niej, co czyniło tę wiarę o ileż trwalszą, wiążąc ją ze sposobem, w jaki ja, siłą wewnętrznego przymusu, musiałem myśleć o Gilbercie. Ale i ja nie wyznałem jej jeszcze swoich uczuć. Zapewne we wszystkich kajetach pisałem bez końca jej imię i adres, ale czułem zniechęcenie na widok linii, które kreśliłem, nie mogąc tym sprawić, aby ona myślała o mnie, które dawały jej na pozór tyle miejsca dokoła mnie, nie wiążąc jej jednak mocniej z moim życiem. Znaki te nie mówiły mi o Gilbercie, która nie miała ich nawet zobaczyć, ale o moim własnym pragnieniu, ukazując mi je jako coś czysto osobistego, nierealnego, wyczerpującego i jałowego.

Najpilniejsze było, żebyśmy się mogli zobaczyć z Gilbertą i żebyśmy mogli sobie wyznać wzajemnie miłość, dotąd, aby tak rzec, jeszcze nie rozpoczętą. Bez wątplenia rozmaite racje, które kazały mi tak pragnąć jej widoku, byłyby mniej naglące dla dorosłego człowieka. Później zdarza się, iż, biegłsi w pielęgnowaniu swoich przyjemności, zadowolamy się rozkoszą myślenia o kobiecie tak, jak ja myślałem o Gilbercie, bez troski o to, czy ten obraz odpowiada rzeczywistości; sycimy się słodyczą kochania bez potrzeby pewności, że Ona nas kocha. Lub też wyrzekamy się rozkoszy wyznania jej swoich uczuć, aby podsycać skłonność, jaką ona ma dla nas: na wzór japońskich ogrodników, którzy

Miłość, Dzieciństwo

dla uzyskania piękniejszego kwiatu poświęcają wiele innych. Ale w epoce, kiedym kochał Gilbertę, wierzyłem jeszcze, że Miłość istnieje rzeczywiście poza nami; że pozwala nam co najwyżej usuwać przeszkody, ofiarowując swoje dary w porządku, w którym nie wolno nic zmieniać. Zdawało mi się, że gdybym z własnej woli udaną obojętnością zastąpił słodycz wyznania, nie tylko pozbawiłbym się jednej z wymarzonej radości, ale sporządziłbym sobie jedynie miłość sztuczną i marną, bez związku z prawdziwą miłością, której tajemnicze i przedwieczne drogi pozostałyby mi nieznanymi.

Ale kiedym przybywał na Pola Elizejskie, kiedy mogłem skonfrontować swoją miłość, aby ją poddać poprawkom koniecznym w stosunku do żywej i niezależnej ode mnie jej przyczyny, w obecności owej Gilberty Swann, której widokiem spodziewałem się odświeżyć obrazy niepochwytne już dla znużonej pamięci; owej Gilberty, z którą bawiłem się wczoraj i którą poznawałem jakimś instynktem, aby się jej ukłonić; instynktem ślepym jak ten, mocą którego, idąc, wysuwamy jedną nogę przed drugą, zanim mieliśmy czas o tym pomyśleć; — natychmiast wszystko działo się tak, jak gdyby ona i dziewczynka będąca przedmiotem moich marzeń stanowiły dwie odrębne istoty. Jeżeli na przykład w wilię nosiłem w pamięci parę płomiennych oczu wyzierających z pełnych i błyszczących policzków, obecnie twarz Gilberty nastroczała mi uparcie coś, czegom sobie właśnie nie przypominał: jakieś wydłużenie nosa, które, kojarząc się z innymi rysami, przybierało wagę cech określających w historii naturalnej *gatunek* i przeobrażało ją w dziewczynkę z rodzaju ryjkowatych. Gotowałem się skorzystać z tej upragnionej chwili dla wykończenia obrazu Gilberty (który przysposabiałem sobie zawczasu i którego już nie mogłem odnaleźć w głowie), tak aby w długich godzinach samotności móc być pewnym, że to sobie przypominam; że to moją miłość dla niej pomnażam stopniowo na kształt tworzonego dzieła. Wtem ona rzuciła mi piłkę; i jak ów filozof-idealista, którego ciało uwzględnia świat zewnętrzny, mimo że jego inteligencja w istnienie tego świata nie wierzy, tak to samo *ja*, które zleciło mi pozdrowić Gilbertę jeszcze przed jej utożsamieniem, kazało mi teraz chwycić piłkę, którą mi podawała: jak gdyby to była koleżanka, z którą przyszedłem się bawić, a nie siostrzana dusza, z którą przyszedłem się połączyć! I to samo *ja* kazało mi przez grzeczność mówić Gilberte aż do chwili rozstania tysiąc uprzejmych i nieznających rzeczy; i nie pozwalało mi ani zachować milczenia, w czasie którego mógłbym wreszcie położyć znów rękę na nieodzownym a zatraconym obrazie, ani powiedzieć jej słów zdolnych zapewnić naszej miłości stanowcze postępy, które musiałem za każdym razem odkładać do drugiego dnia.

Bądź co bądź, czasem robiłem te postępy. Jednego dnia poszliśmy z Gilbertą aż do straganu. Sklepiarka była dla nas szczególnie uprzejma, ponieważ pan Swann kupował u niej pierniki; a przez higienę konsumował ich dużo, cierpiąc na rasową egzemę i na ztwardzenie Proroków. Śmiejąc się, Gilberta pokazała mi dwóch chłopczyków, żywe okazy małego kolorysty i małego naturalisty z dziecinnych książek. Jeden nie chciał landrynek czerwonych, bo wołał fioletowe, a drugi ze łzami w oczach odtrącał śliwkę, którą mu chciała kupić bona, gdyż, jak powiedział w końcu z przejęciem: „Wolę tamtą śliwkę, bo ma robaka!”. Kupiłem dwie kulki za dwa sou. Patrzałem z podziwem na lśniące agatowe kule spoczywające w oddzielnej miseczce; wydawały mi się cenne, bo były uśmiechnięte i jasnowłose jak młode dziewczyny i kosztowały po pół franka. Gilberta, której dawano o wiele więcej pieniędzy niż mnie, spytała, która mi się bardziej podoba. Miały soczystość i przezroczystość czegoś żywego. Nie chciałem, aby się wyrzekła którejś z tych kulek; pragnąłbym, aby mogła kupić, oswobodzić wszystkie. Mimo to wskazałem jedną, koloru jej oczu. Gilberta wzięła kulkę, poszukała złotego promienia, upieściła ją, zapłaciła okup, ale natychmiast oddała mi brankę, powiadając: „Proszę, niech kawaler weźmie i zachowa na pamiątkę”.

Innym razem, pochłonięty wciąż żądzą ujżenia Bermi w klasycznym utworze, spytałem Gilberty, czy nie posiada wyczerpanej już broszury, gdzie Bergotte mówi o Racinie. Poprosiła, abym jej przypomniał dokładny tytuł; wieczorem przesałem jej liścik, wypisując na kopercie owo *Gilberta Swann*, które tylekroć kreśliłem na kajetach. Nazajutrz Gilberta przyniosła mi broszurę w papierze przewiązanym wstążką lila i zapieczętowanym białym lakiem. „Widzi pan, że to jest to, czego pan sobie życzył, rzekła wydobywając z muflki mój list. Ten *pneumatyk* wczoraj jeszcze był niczym, błękitnym świstkiem zapisa-



nym moją ręką, ale od czasu, jak go listonosz oddał odźwiernemu Swannów i jak służący zaniósł go do pokoju Gilberty, stał się rzeczą bez ceny, jednym z listów, które otrzymała owego dnia! Z trudem mogłem rozpoznać na adresie nikle i osamotnione linie własnego pisma pod drukowanymi kółkami, które przydała im poczta, pod napisami, które dodał ołówkiem listonosz. To były znaki istotnej realizacji, piętna zewnętrznego świata, fioletowe symboliczne kręgi życia, które zjawily się po raz pierwszy, aby objąć, podtrzymać, podnieść i skrzepić moje marzenia.

I był także dzień, w którym mi powiedziała: „Wiesz, możesz mnie nazywać Gilbertą; w każdym razie ja cię będę nazywała po imieniu. Inaczej to zanadto krępujące”.

Mimo to jeszcze przez chwilę mówiła mi *pan*, a kiedy zwróciłem jej uwagę, uśmiechnęła się, układając, budując zdanie kończące się moim imieniem, podobne do tych, które w cudzoziemskich gramatykach nie mają innego celu prócz tego, aby użyć nowego słowa. Przypominając sobie później to, com czuł wówczas, uświadomiłem sobie, że był przez chwilę w ustach Gilberty, nagi, bez żadnej z cech, które określały również innych jej znajomych lub — kiedy wymawiała moje nazwisko — moich rodziców. W wysiłku, jaki czyniła (trochę podobna w tym do swego ojca), aby wyraźnie wymawiać słowa, które chciała podkreślić, wargi Gilberty robiły wrażenie, że mnie obłuskują, obierają niby owoc, z którego można jeść jedynie miąższ; gdy równocześnie spojrzenie jej, dostrajając się do poufalości wysłowienia, dosięgało mnie również bardziej wprost uśmiechem, podkreślając świadomość, przyjemność i jakby wdzięczność za nie.

Ale w tej chwili nie mogłem ocenić owych nowych rozkoszy. Nie dawała ich dziewczynka, którą kochałem, *mnie*, który ją kochałem, ale jakaś inna, ta, z którą się bawiłem, owemu innemu *mnie*, niemającemu ani pamięci prawdziwej Gilberty, ani pochłoniętego nią serca: ono zaś jedno mogłoby zrozumieć cenę tego szczęścia, bo ono jedno go pragnęło. Nawet po powrocie do domu nie syciłem się tą przyjemnością. Ten sam przymus, który kazał mi się spodziewać co dnia, że nazajutrz dostąpię dokładnej, spokojnej, szczęśliwej kontemplacji Gilberty, że mi wyzna wreszcie miłość, wyjaśniając, czemu ją musiała ukrywać tak długo; ten sam przymus kazał mi mieć przeszłość za nic, patrzeć jedynie przed siebie. Wszystkie takie drobne zyski były dla mnie nie czymś istotnym i samowystarczalnym, ale nowymi szczeblami pozwalającymi uczynić mi krok dalej i dosięgnąć wreszcie szczęścia, którego jeszcze nie spotkałem.

O ile Gilberta dawała mi czasem dowody przyjaźni, wyrządzała mi nieraz przykrość, zachowując się tak, jakby widzenie mnie nie sprawiało jej przyjemności; często zdarzało się to właśnie w dniu, z którymi najwięcej wiązałem nadziei. Kiedym był pewny, że Gilberta przyjdzie na Pole Elizejskie, doznawałem radości, która mi się zdawała jedynie mglistym przecuciem wielkiego szczęścia. Wchodząc rano do salonu, aby uścisnąć mamę, już ubraną, z kunsztowną wieżą czarnych włosów na głowie, z białymi i pulchnymi rękami pachnącymi jeszcze mydłem, widziałem słup pyłu stojący o własnych siłach nad pianinem, słyszałem katarynkę grającą pod oknem *En revenant de la revue*; — i pojmowałem, że zima otrzymała nieoczekiwaną i promienną wizytę wiosennego dnia. Kiedyśmy jedli śniadanie, dama z przeciwka, otwierając okno i zamiatając jednym ruchem całą szerokość naszej jadalni, spędziła w mgnieniu oka z pobliza mojego krzesła promień, który zaczął tam swoją sjęstę i wrócił za chwilę, aby ją kontynuować. W szkole na ostatniej lekcji o godzinie pierwszej słońce podrywało mnie niecierpliwością i nudą, pozwalając się wałęsać złotemu blaskowi po moim pulpicie. Było to niby zaproszenie na zabawę, na którą nie będę mógł przybyć przed trzecią — o której to godzinie Franciszka czekała na mnie u wyjścia. Szliśmy ku Polom Elizejskim przez ulice strojne światłem, zapchane tłumem, gdzie balkony, odlutowane słońcem, bujały mgliste przed domami niby złote chmury. Niestety! Często na Polach Elizejskich nie zastawałem Gilberty, jeszcze nie przyszła. Stałem zmartwiały na polance odżywionej niewidzialnym słońcem, które tu i ówdzie rozświetlało źdźbła trawy. Gołębie, przysiadłszy na trawniku, robiły wrażenie starożytnych rzeźb, które łopata ogrodnika wydobyla na powierzchnię uświęconej ziemi. Trwałem tak z oczami wlepionymi w horyzont; spodziewałem się co chwila ujrzeć obraz Gilberty idącej za guwernantką, poza statuą poddającą błogosławieństwu słońca dziecko, które trzymała i które ociekało promieniami. Stara czytelniczka *Debat ów* siedziała w swoim fotelu, zawsze na tym samym miejscu; przesyłała dozorczy przyjazny znak ręką, wołając: „Cóż za śliczny czas!”, a kiedy kontrolerka zbliżyła się, aby pobrać opłatę za fotel, dama mizdrzyła

się, wkładając w otwór rękawiczki dziesięciocentymowy bilet tak, jakby to był bukiecik, dla którego przez uprzejmość wobec ofiarodawcy szukała najpochlebniejszego miejsca. Kiedy je znalazła, wykonywała skomplikowane ewolucje szyją, poprawiała boa i pokazując kontrolerce żółty kwitek wyglądający z rękawiczki, słała jej zalotny uśmiech, jakim kobieta, wskazując młodemu człowiekowi staniak, powiada: „Poznaję pan swoje róże!”.

Ciągnąłem Franciszkę naprzeciw Gilberty aż do Łuku Tryumfalnego; nie spotykaliśmy jej i wracałem na polankę przekonany, że już nie przyjdzie. Naraz spoza karuzeli owa dziewczynka z ostrym głosem rzuciła się ku mnie: „Prędko, prędko, Gilberta jest już od kwadransa. Niedługo musi iść. Czekamy na ciebie, gramy w klasy”. Podczas kiedy ja wlokłem się pod górę aleją des Champs-Élisées, Gilberta przyszła ulicą Boissy-d’Anglas; jej mademoiselle skorzystała z pogody, aby załatwić sprawunki, a pan Swann miał przyjść po córkę. To była moja wina; nie powinienem był się oddalać; nigdy nie wie się na pewno, którą stroną i kiedy Gilberta przyjdzie. I to oczekiwanie czyniło mi czymś bardziej wzruszającym nie tylko Pola Elizejskie i całe popołudnie — niby olbrzymi krąg przestrzeni i czasu, gdzie na każdym punkcie i w każdej chwili mógł się ukazać obraz Gilberty — ale i sam ten obraz. Czasem obraz ten ugodził mnie wprost w serce, kiedy Gilberta zjawiała się o czwartej zamiast o wpół do trzeciej, w wizytowym kapeluszu zamiast zwykłego beretu, koło *Ambassadeurs*, a nie między drewnianymi budami; wówczas odgadując jedno z owych zatrudnień, w których nie mogłem towarzyszyć Gilbertce, a które zmuszały ją do wyjścia lub do zostania w domu, wchodziłem w kontakt z tajemnicą jej nieznanego życia. Tajemnica ta przenikała mnie również, kiedy biegnąc na rozkaz dziewczynki o ostrym głosie, aby zaraz zacząć partię, spostrzegłem Gilbertę tak żywą i szorstką z nami, składającą ukłon czytelniczce *Debatów*, która mówiła: „Co za wspaniałe słońce, istny ogień”. Gilberta miała wobec tej damy nieśmiały uśmiech, układną minę, które budziły we mnie odmienny obraz młodej dziewczyny, Gilberty takiej, jaką musiała być z rodzicami, z przyjaciółmi rodziców, na wizycie, w całej swojej drugiej egzystencji, dla mnie niedostępnej.

Ale nikt nie dawał mi przedsmaku owej egzystencji w tym stopniu co pan Swann, który zachodził nieco później po córkę. Bo on i pani Swann — przez to, że córka mieszka z nimi, że jej lekcje, zabawy, przyjaźnie zależały od nich — kryli dla mnie jak Gilberta, może nawet więcej niż Gilberta, coś niedostępnego i nieznanego, jakiś bolesny urok, jak przystało wszechwładnym bóstwom, w których urok ten czerpałby swoje źródło. Niegdyś, kiedy pan Swann żył blisko z moimi rodzicami, widywałem go często i bez szczególnej ciekawości. Ale teraz wszystko, co tyczyło rodziców Gilberty, było dla mnie przedmiotem tak ciągłego zainteresowania, że w dniu, w które pan Swann przychodził po córkę, skorom poskromił bicie serca wzniecone zjawieniem się jego szarego cylindra i płaszcza z peleryną, widok jego wzruszał mnie jeszcze tak, jak widok jakiejś historycznej postaci, o której czytało się świeżo szereg dzieł i której najmniejsze właściwości pasjonują nas. Jego stosunki z hrabią Paryża, które, kiedyś słyszałem o nich w Combray, były mi obojętne, nabierały teraz dla mnie czegoś cudownego, jak gdyby nikt inny nigdy nie znał Orleanów; odcinały go ostro od pospolitego tła przechodniów z różnych sfer, zapelniających aleję des Champs-Élysées; dziwiłem się, że on się godzi mieszać w ten tłum, nie żądając dla siebie specjalnych względów, których nikt zresztą nie zamierzał mu oddawać, tak głębokie spowijało go incognito.

Pan Swann odpowiadał grzecznie na ukłony przyjaciół Gilberty, nawet na mój, mimo że był poróżniony z moją rodziną, ale nie zdradzając, czy mnie poznaje. To mi przypomniało, że mnie przecież często widywał na wsi; wspomnienie to zachowałem jak gdyby w cieniu, ponieważ od czasu, jak odnalazłem Gilbertę, Swann był dla mnie ojcem Gilberty, a nie już Swannem z Combray. Ponieważ pojęcia, z którymi wiązałem teraz jego nazwisko, różne były od pojęć, w których siatce mieściło się ono poprzednio i którymi nie posługiwałem się już nigdy, myśląc o panu Swannie, stał się on nową osobistością; łączyłem go jednakże sztuczną, poboczną i poprzeczną linią z naszym dawnym gościem. Wszystko istniało już dla mnie wyłącznie pod kątem mojej miłości; toteż jedynie z uczuciem wstydu i żalu, że ich nie mogę wymazać, odnajdywałem lata, kiedy w oczach tego samego Swanna ośmieszałem się tak często wieczorem, prosząc mamę, aby zaszła do mego pokoju na dobranoc, wówczas gdy piła ze wszystkimi kawę przy stole w ogrodzie.

I teraz ten sam pan Swann był ze mną na Polach Elizejskich, ale na szczęście Gilberta nie powiedziała mu może mojego nazwiska.

Pan Swann oświadczył córce, że pozwala jej zagrać jedną partię i że może zaczekać na nią kwadrans; po czym, usiadłszy jak wszyscy na żelaznym krześle, zapłacił za bilet tą samą ręką, którą Filip VII tak często trzymał w swoich dłoniach, podczas gdy myśmy zaczęli grać na trawniku, płosząc gołębie, których piękne mieniące się ciała o kształcie serca, będące niby bzy w królestwie ptaków, szukały sobie schronienia. Jeden znalazł je na wielkim kamiennym wazonie i zanurzając w nim dziób, narzucał mu jakby gest i zadanie ugaszczania ptactwa owocem lub ziarnem; inny przysiadł na czole posągu, wieńcząc go na kształt owych emaliowanych emblematów, których polichromia urozmaica monotonię kamienia, przydając postaci godło, które, kiedy nosi je bogini, zyskuje jej osobny przydomek i czyni z niej — jak z istoty śmiertelnej odrębne imię — jakby nowe bóstwo.

W jeden z owych słonecznych dni, który nie ziścił moich nadziei, nie miałem siły ukryć przed Gilbertą swojego zawodu.

— Miałem właśnie o tyle rzeczy cię zapytać — rzekłem. — Myślałem, że ten dzień dużą odegra rolę w naszej przyjaźni. I ledwoś przyszła, już masz iść! Staraj się przyjąć wcześniej jutro, żebym mógł z tobą pomówić.

Gilberta rozpromieniła się i podskakując z radości, odparła:

— Jutro właśnie, ciesz się na to, mój chłopczyku! Ależ ja jutro wcale nie przyjdę! Mam wielki podwieczorek; pojutrze też nie, idę do przyjaciółki oglądać z okna wjazd króla Teodozjusza, to będzie wspaniałe; a nazajutrz *Michel Strogoff*, a potem już niedługo Boże Narodzenie i noworoczne wakacje. Może mnie wezmą na południe. To byłby szyk! Chociaż to mnie pozbawi drzewka. W każdym razie, gdybym została w Paryżu, nie przyjdę tutaj, bo będę robiła wizyty z mamą. Bywaj zdrow, papuś mnie woła.

Wracając z Franciszką ulicami jeszcze wybrukowanymi słońcem, niby w wieczór po skończonym festynie. Ledwo wlokłem nogi.

— A bo to co dziwnego — rzekła Franciszka — to nie jest czas na tę porę, za ciepło mamy. Och, dobry Boże, co to się ludzisków od tego pochoruje; mógłby człowiek myśleć, że tam w górze też się coś popsulo.

Dławiąc łkanie, powtarzałem sobie słowa, w których Gilberta wybuchnęła radością, że tak długo nie przyjdzie na Pola Elizejskie. Ale już działał czar, którym automatycznie niejako nasycala się moja myśl z chwilą, gdym myślał o Gilbertce. Osobliwość i wyjątkowość pozycji, choćby nawet bolesnej, w jakiej wewnętrzny przymus stawiał mnie nieuchronnie wobec Gilberty, zaczęły stroić nawet ten znak jej obojętności w coś romantycznego; wśród łez wykwiłał mi uśmiech, nieśmiały szkiełko pocałunku. I kiedy przyszła godzina poczty, powiedziałem sobie tego wieczora jak co dzień: „Dostanę list od Gilberty, powie mi wreszcie, że mnie nigdy nie przestała kochać, zdradzi mi tajemną przyczynę, dla której to ukrywała dotąd, czemu musiała udawać, że może żyć bez mego widoku, czemu przybrała pozór zwykłej towarzyszyki zabaw”.

Co wieczór roilem sobie ten list; miałem uczucie, że go czytam; powtarzałem sobie każde jego zdanie. Naraz zatrzymywałem się przestraszony. Zrozumiałem, że jeżelibym otrzymał list od Gilberty, to nie mógłby to być w żadnym razie *ten*, skoro to ja go właśnie ułożyłem. Od tej pory starałem się odwrócić myśl od słów, które byłbym pragnął wyczytać w jej liście, z obawy, abym, wymawiając je, nie wykluczył z pola możliwych rzeczywistnień właśnie tych słów — najdroższych, najbardziej upragnionych. Nawet gdyby przez nieprawdopodobny zbieg Gilberta przesłała mi właśnie ten list, którym wymyślił, nie byłbym — poznając swoje dzieło — miał wrażenia, że otrzymał coś niepochozącego ode mnie, coś realnego, nowego; szczęście niezrodzone z mojej myśli, niezależne od mojej woli, prawdziwy dar miłości.

Tymczasem odczytywałam stronicę, której nie napisała do mnie Gilberta, ale którą bodaj miałem od niej; ów ustęp z Bergotte'a o piękności starych mitów, źródle natchnień Racine'a. Kartkę tę — obok agatowej kuli — zawsze miałem przy sobie. Byłem rozczulony dobrocią Gilberty, która odnalazła ją dla mnie. Każdy szuka racji dla swojej miłości i szczęśliwy jest, skoro w ukochanej istocie znajdzie cechy, o których — z literatury albo z rozmowy — dowiedział się, iż stanowią przymioty godne miłości; i przenosi na nią te cechy przez naśladownictwo, i czyni z nich nowe racje miłości, choćby były najsprzeczniesze z racjami, jakich owa miłość byłaby szukała, dopóki była samorzutna. Tak było

niegdyś ze Swannem wobec urody Odety. Ja pokochałem Gilbertę od czasów Combray dla wszystkiego nieznanego w jej życiu, w które byłbym się pragnął wdrzeć, wcielić, porzucając własne życie, będące mi już niczym; i oto teraz widziałem nieoszacowane korzyści w tym, że tego mojego życia, zbyt znanego, wzgardzonego przeze mnie Gilberta mogłaby się kiedyś stać pokorną służką, wygodną i komfortową współpracownicą, która wieczorem, pomagając mi w moich pracach, kolacjonowałaby dla mnie teksty.

Co się tyczy Bergotte'a, owego nieskończenie mądrego, boskiego niemal starca, dla którego zrazu pokochałem Gilbertę, zanim ją nawet ujrzałam, teraz kochałem go zwłaszcza z powodu Gilberty. Z taką samą przyjemnością co na jego stronie o Racinie, patrzyłem na zamknięty wielkimi pieczęciami białego laku i przewiązany wstążką lila papier, w którym Gilberta mi je przyniosła. Całowałem agatową kulkę, która była lepszą częścią serca mojej ukochanej; częścią, która nie była płochą, ale wierną, i która, mimo iż strojna tajemniczym czarem życia Gilberty, była przy mnie, mieszkała w moim pokoju, spała w moim łóżku.

Z uczuciem szczęścia kojarzyłem piękność tego kamienia, a także piękno stronic Bergotte'a z ideą miłości do Gilberty; jak gdyby one dawały tej miłości jakąś konsystencję w chwilach, gdy rozwiewała się w nicość. Ale przychodziło mi na myśl, że owe piękności wcześniejsze są od tej miłości, że nie są do niej podobne, że składniki ich były określone talentem Bergotte'a lub prawami mineralogii, zanim Gilberta mnie poznała; że nic nie zmieniłoby się w książce ani w kamieniu, gdyby Gilberta nie była mnie pokochała; i że tym samym nic nie uprawnia mnie do upatrywania w nich zakładu szczęścia. I gdy moja miłość, oczekując bez ustanku od jutrzejszego dnia wyznania Gilberty, unicestwiała, niweczyła co wieczór źle wykonaną pracę dnia, nieznaną robotnicą w mrokach mojego *ja* nie odrzucała na śmietnik porwanych nici, ale układała je, nie troszcząc się o moje zadowolenie i szczęście, w innym porządku, jaki dawała wszystkim swoim dziełom. Nie interesując się specjalnie moją miłością, nie orzekając z góry, że jestem kochany, zbierała postęпки Gilberty dla mnie niezrozumiałe i przewiny jej, które usprawiedliwiałem. Wówczas jedne i drugie nabierały znaczenia. Ten nowy porządek głosił, iż widząc, jak Gilberta zamiast przyjść na Pola Elizejskie spieszy do przyjaciółki albo za sprawunkami i gotuje się do wyjazdu na święta, niesłusznie myślę i mówię sobie, że „jest pusta albo uległa”. Bo przestałaby być pusta albo uległa, gdyby mnie kochała; a gdyby musiała ulec, czyniłaby to z rozpaczą równą mojej w dniu, kiedy jej nie ujrzałem. Powiadał jeszcze ów nowy porządek, że muszę przecie wiedzieć, co to jest kochać, skoro sam kocham Gilbertę; zwracał mi uwagę na nieustanną troskę, z jaką pragnę urósć w jej oczach. Dla tej troski próbowałem nakłonić matkę, aby kupiła Franciszce gumowy płaszcz i kapelusz z błękitnym piórkiem lub raczej, aby mnie nie posyłała na Pola Elizejskie ze służącą, za którą się rumieniłem (na co matka odpowiadała, że jestem niesprawiedliwy wobec Franciszki i że to jest dzielna kobieta, bardzo nam oddana). Zwracał mi także uwagę na moją palącą potrzebę widzenia Gilberty; potrzebę, która sprawiała, że całe miesiące naprzód starałem się dowiedzieć, kiedy ona opuszcza Paryż i dokąd się udaje; przy czym najmilsze strony zdawały mi się miejscem wygnania, o ile jej tam nie było; i byłbym pragnął wciąż być w Paryżu, dopóki będę ją mógł widywać na Polach Elizejskich. I bez trudu ów nowy porządek mógł mi wykazać, że tej troski lub tej potrzeby daremnie bym się starał dojrzeć w postępowaniu Gilberty. Ona, przeciwnie, ceni swoją nauczycielkę, nie troszcząc się o to, co ja o niej myślę. Uważała za całkiem naturalne nie przyjść na Pola Elizejskie, o ile idzie na sprawunki z mademoiselle, a za przyjemne, o ile ma towarzyszyć matce. I nawet przypuściwszy, że byłaby mi pozwoliła spędzić wakacje tam gdzie i ona, przy wyborze miejsca troszczyła się o chęci rodziców, o tysiąc spodziewanych rozrywek, a wcale nie o to, aby to była miejscowość, do której rodzina zamierzała mnie wysłać. Kiedy mnie upewniała czasem, że mnie mniej lubi niż innego ze swoich przyjaciół, mniej niż mnie lubiła wczoraj, bo zepsułem jej przez nieuwagę grę, przeproszałem ją, pytałem, co mam uczynić, aby mnie znów lubiła jak dawniej, aby mnie lubiła więcej niż innych; chciałem, żeby mi powiedziała, że to się już stało; błagałem ją o to, tak jakby ona mogła zmienić swoje uczucia wedle swojej i mojej woli po to, aby mi sprawić przyjemność, samymi słowami, które mi powie, w miarę mego dobrego lub złego postępowania. Czyż nie wiedziałem, że to, co ja czuję dla niej, nie zależy ani od jej postępków, ani od mojej woli?

Powiadał wreszcie ów nowy porządekznaczony przez niewidzialną robotnicę, że, o ile możemy pragnąć, aby postęпки osoby sprawiającej nam dotąd przykrość nie były szczerze, jest w ich łańcuchu logika, przeciw której nasze pragnienie jest bezsilne, i że raczej tej logiki niż naszych pragnień powinniśmy pytać o to, jakie będą postęпки tej osoby jutro.

Miłość moja słuchała tych nowych słów. Upewniały ją one, że jutro nie będzie różnie od wszystkich poprzednich dni; że uczuciem Gilberty dla mnie, zbyt dawnym już, aby się mogło zmienić, była obojętność; że w tej przyjaźni ja jeden kochałem. „To prawda — odpowiadała moja miłość — nie da się już nic zrobić z tej przyjaźni, ona się nie zmieni”. Wówczas od jutra lub czekając jakiegoś święta, o ile było niedaleko, jakiejś rocznicy, Nowego Roku może, któregoś z owych dni niepodobnych do innych, kiedy czas rozpoczyna nowy rachunek, odrzucając spadek przeszłości, nie przyjmując legatu jej smutków, posiłem Gilbertę, aby poniechała naszej dawnej przyjaźni i aby rzuciła podwaliny nowej.

Wciąż miałem pod ręką plan Paryża, który dzięki temu, że można było na nim znaleźć ulicę, gdzie mieszkali państwo Swann, zdawał mi się zawierać skarb. I dla przyjemności, a także przez jakąś rycerską wierność, wymawiałem z lada przyczyny nazwę tej ulicy, tak że ojciec, nieznający (jak znały matka i babka) sekretu mojej miłości, pytał:

— Ale co ty wciąż mówisz o tej ulicy, nie ma w niej nic nadzwyczajnego; jest bardzo miła jako punkt, bo jest o dwa kroki od Lasku, ale jest dziesięć innych ulic tak samo położonych.

Starałem się przy każdej sposobności wyciągać z ust rodziców to nazwisko *Swann*. Zapewne powtarzałem je sobie w duchu bez ustanku; ale potrzebowałem także słyszeć jego rozkoszny dźwięk, słuchać tej muzyki, której niema lektura nie wystarczała mi. Zresztą to nazwisko *Swann*, które znałem od tak dawna, było teraz dla mnie — jak się zdarza niektórym paralitykom w stosunku do najzwyczajniejszych słów — nowym nazwiskiem. Było wciąż obecne w mojej myśli; mimo to myśl nie mogła się z nim oswoić. Rozkładałem je, sylabizowałem, ortografia jego była dla mnie niespodzianką. I tak samo jak przestało mi być znajome, równocześnie przestało mi być niewinne. Rozkosze, jakim znajdowałem w tym, aby je słyszeć, zdawały mi się występne; miałem uczucie, że ludzie odgadują moją myśl i zmieniają rozmowę, o ile się ją staram naprowadzić na to nazwisko. Czepiałem się tematów wiążących się z Gilbertą; klepałem wciąż te same słowa, wiedząc, niestety, że to są tylko słowa; — słowa wymawiane z dala od niej, niesłyszane przez nią, słowa bez mocy, powtarzające to, co było, ale niezdolne nic zmienić. Mimo to zdawało mi się, że walcując tak wszystkim, co miało związek z Gilbertą, wycisnę w końcu coś szczęśliwego. Powtarzałem rodzicom, że Gilberta bardzo kocha swoją mademoiselle, tak jakby to twierdzenie, powtórzone setny raz, mogło mieć w końcu ten skutek, że Gilberta nagle wejdzie i zostanie z nami na zawsze. Wychwalałem starą damę czytającą *Debaty* (podsunałem rodzicom, że to jakaś ambasadorowa, a może księżna krwi) i wciąż słałem jej piękność, wspaniałość, dostojność, aż do dnia, w którym powiedziałem iż, wedle tego com słyshał od Gilberty, dama nazywa się pani Blatin.

— Och, ależ ja już wiem, co to jest! — wykrzyknęła matka, gdy ja czułem, że się czerwienię ze wstydu. — Baczość! baczość! jakby powiedział dziadek. I to ona wydała ci się piękna! Ależ ona jest okropna i zawsze taka była. To wdowa po komorniku. Nie przypominasz sobie, kiedyś był dzieckiem, jakich cudów dokazywałem, aby jej unikać na lekcjach gimnastyki, gdzie, nie znając mnie, upierała się rozmawiać ze mną pod pozorem oznajmienia mi, że jesteś „za ładny na chłopca”. Ma zawsze szal robienia znajomości i jeżeli naprawdę zna panią Swann, to musi być skończona wariatka, jak zawsze przypuszczałem. Bo, o ile jest ze sfery bardzo pospolitej, to przynajmniej nigdy nie słyszałem o niej nic podejrzanego. Ale zawsze musiała „wyrabiać sobie stosunki”. Jest okropna, straszliwie ordynarna, przy tym niebezpieczna plotkara.

Co się tyczy Swanna, tak bardzo pragnąłem się stać do niego podobny, że cały czas przy stole ciągnąłem się za nos i przecierałem sobie oczy. Ojciec powiadał: „Ten chłopak ma źle w głowie, będzie szkaradny”. Byłbym zwłaszcza pragnął być łysy jak Swann. Wyda-

wał mi się osobistością tak niezwykłą, że nie mogłem pojąć, iż osoby, u których bywałem, mogą go znać również i że tego lub owego dnia może się zdarzyć go spotkać. Jednego razu matka, opowiadając nam — jak zawsze przy obiedzie — co robiła popołudniu, rozwiła<sup>27</sup> dla mnie wśród bardzo jałowego dla mnie opowiadania jak gdyby tajemniczy kwiat, jedynie tymi prostymi słowami: „Prawda, wyobraź sobie, kogo spotkałam w Trois Quartiers przy ladzie z parasolami: Swanna”. Co za melancholijna rozkosz dowiedzieć się, że tego popołudnia, obnosząc w tłumie swoją nadprzyrodzoną postać, Swann kupował parasol! Pośród wielkich i drobnych wydarzeń, jednako obojętnych, fakt ten budził we mnie owe swoiste wibracje, jakie wciąż przenikały moją miłość do Gilberty. Ojciec powiadał, że nie interesuję się niczym, bo nie słuchałem, kiedy mówiono o domniemanych następstwach politycznych wizyty króla Teodozjusza, w tej chwili gościa Francji i jakoby jej sprzymierzeńca. Ale w zamian miałem ochotę wiedzieć, czy Swann był w swoim haweloku!

— Czyście się przywitali? — spytałem.

— Ależ oczywiście — odrzekła matka, która zawsze się obawiała, iż gdyby przyznała, że jesteśmy chłodno ze Swannem, zbyt gorliwie może starano by się ich pogodzić, czego chciała uniknąć z powodu pani Swann, z którą nie życzyła sobie znajomości. — To on podszedł się przywitać, ja go nie widziałam.

— Więc w takim razie nie jesteście pokłóceni?

— Pokłóceni? Ależ czemu mamy być pokłóceni? — odparła żywo, jak gdybym uczynił zamach na fikcję jej dobrych stosunków ze Swannem i silił się pracować nad zbliżeniem.

— Mógłby mieć żal do ciebie, że go już nie zapraszasz.

— Nie musi się wszystkich zapraszać; czy on mnie zaprasza? Nie znam jego żony.

— Ale przychodził przecie do nas w Combray.

— Więc dobrze, przychodził w Combray, a w Paryżu ma co innego do roboty i ja także. Ale upewniam cię, że ani trochę nie wyglądamy na ludzi pokłóconych. Staliśmy chwilę razem, bo Swann nie mógł się doczekać swojej paczki. Pytał o ciebie, mówił, że się bawisz z jego córką — dodała matka, olśniewając mnie tym cudem, że ja istnieję w myśli Swanna. Więc gdy ja drzę przed nim z miłości na Polach Elizejskich, on, widząc mnie bawiącego się z jego córką, zna moje nazwisko i wie, kto jest moja matka, i może skupić dokoła mojej osoby jakieś informacje o dziadkach, o ich rodzinie, o miejscu, gdzieśmy mieszkali, i jeszcze może jakieś właściwości naszego dawniejszego życia, może nawet mnie nieznane. Ale matka nie zdawała się znajdować szczególnego uroku w tym dziele *Trois Quartiers*, gdzie reprezentowała dla Swanna, w momencie gdy ją ujrzął, określoną osobę i wspólne wspomnienia, które wzbudziły w nim odruch ukłonu i podejścia do niej.

Toż samo ani matka, ani ojciec najwyraźniej nie znajdowali nieporównanej przyjemności w rozmowie o dziadkach Swanna, o tytule „honorowego agenta giełdowego”. Wyobraźnia moja wyosobniła i uświęciła w Paryżu ludzkim pewną rodzinę, tak jak w Paryżu kamiennym uczyniła z pewnym domem, któremu wyrzeźbiła bramę i upiększyła okna. Ale te ornamenty ja sam tylko widziałem. Ojcu i matce dom, w którym mieszkał Swann, wydawał się podobny do innych domów wyrosłych w tej samej epoce w okolicy Lasku Bulońskiego; a rodzina Swanna była dla nich czymś podobnym do wielu innych rodzin. Szacowali ją lepiej lub gorzej wedle jej udziału w cechach wspólnych reszcie świata i nie znajdowali w niej nic wyjątkowego. Przeciwnie, zalety, które w niej cenili, znajdowali w równym lub wyższym stopniu gdzie indziej. Toteż uznawszy, że dom Swannów jest ładnie położony, zaczęli mówić o innym domu, położonym jeszcze ładniej, ale niemającym nic wspólnego z Gilbertą; albo o finansistach o szczebel wyższych od dziadka Swanna; i o ile się zdawało przez chwilę, że dzielą mój punkt widzenia, było to nieporozumienie, które się rychło rozwiało. Bo też, aby we wszystkim, co otacza Gilbertę ujrzeć jakąś nieznaną właściwość, analogiczną w świecie wzruszeń do tego, czym może być w świecie barw kolor infraczerwony, rodzicom brakło owego dodatkowego i chwilowego zmysłu, jakim mnie obdarzyła miłość.

W dni, w które Gilberta nie miała przyjść na Pola Elizejskie, starałem się skierować przechadzkę tak, aby się trochę zbliżyć do niej. Czasem ciągnąłem Franciszkę — niby na pielgrzymkę — przed dom, gdzie mieszkali państwo Swann. Kazałem jej bez końca

<sup>27</sup>rozwiła — dziś popr. 3 os.lp r.ż.: rozwinęła. [przypis edytorski]

powtarzać sobie to, czego przez mademoiselle dowiedziała się o pani Swann. „Zdaje się, że ona ma wielkie nabożeństwo do medalików. Nigdy nie puści się w podróż, kiedy słyszała sowę albo stukanie w ścianie, albo kiedy kot przeleci jej drogę o północy, albo kiedy mebel zaskrzypi. O, to pani bardzo wierząca!”. Byłem tak zakochany w Gilbertce, że kiedyś na ulicy ujrzał starego kamerdynera Swannów prowadzącego psa na spacer, wzruszenie kazało mi przystanąć, wlepiam w jego białe faworyty spojrzenia pełne miłości. Franciszka pytała mnie:

— Co paniczowi jest?

Następnie wędrowaliśmy dalej aż do bramy Swannów, gdzie odźwierny, odmienny od wszelkiego innego odźwiernego i nasycony aż po galony liberii tym samym bolesnym urokiem, jaki odczułem niegdyś w imieniu Gilberty, robił wrażenie, iż wie, że jestem z liczby upośledzonych istot, na zawsze wykluczonych z tajemniczego życia, którego strzec było jego zadaniem. Parterowe okna w szlachetnych zwojach muślinowych firanek podobne nie tyle do jakichkolwiek innych okien, ile do oczu Gilberty, zdawały się jakby świadomie osłaniać owo życie. Innym razem szliśmy na bulwary; stawałem u wylotu ulicy Duphot; powiedziano mi, że często można tam ujrzeć Swanna idącego do dentysty; i wyobraźnia moja tak bardzo wyodrębniła ojca Gilberty z reszty ludzkości, jego obecność wśród realnego świata wnosila w ten świat tyle cudu, że nim jeszcze dotarłem do Madeleine, czułem się wzruszony bliskością ulicy, gdzie mogło się niespodzianie ziszczyć nadprzyrodzone zjawisko.

Ale najczęściej — kiedyś nie miał widzieć Gilberty — dowiedziawszy się, że pani Swann przechadza się prawie co dzień w alei des Acacias, dokoła jeziora, i w alei Reine-Marguerite, ciągnąłem Franciszkę do Lasku Bulońskiego. Był on dla mnie niby owe zoologiczne ogrody, gdzie się ogląda różną florę i najsprzeczniejsze krajobrazy; gdzie za górką spotyka się grotę, łąkę, skały, rzekę, fosę, górkę, moczar, ale ze świadomością, iż są tam tylko po to, aby dostarczyć odpowiedniego środowiska lub malowniczej ramy igraszkom hipopotama, zebra, krokodyłów, królików, niedźwiedzi i czapli. Ów Lasek, również różnaity, jednoczący odmienne i zamknięte światki, ukazujący fermę obsadzoną czerwonymi drzewami, amerykańskie dęby, niby jakiś folwark w Wirginii, tuż po sosnowym gaiku nad jeziorem lub gęstwinie, z którego wyłoni się nagle w swoim miękkim futrze, z pięknymi oczami zwierzęcia jakaś chyża amatorka spaceru, to był ogród kobiet; a aleja Akacyjowa — niby aleja Mirtowa w *Eneidzie* — obsadzona dla nich drzewami jednego gatunku, była klasycznym spacerem słynnych Piękności.

Jak szczyt skały, z której wydra skacze w wodę, z dala przejmuje radością dzieci, pewne, że zobaczą to zwierzę, tak samo daleko jeszcze od alei des Acacias, działał na mnie zapach akacji, który promieniując dokoła, dawał uczuć bliskość i osobliwość bujnej i upajającej indywidualności roślinnej; potem, kiedyś się zbliżał, lekkie i zalotne wierzchołki drzew pełnych swobodnej elegancji, o wykwintnym kroju i cienkiej tkaninie, na które setki kwiatów spadły niby skrzydlate i migotliwe kolonie cennych pasożytów; wreszcie samo ich imię kobiece, leniwe i słodkie, sprawiały, iż serce moje zaczynało bić, ale wzruszeniem na wskroś światowym — niby owe walce wywołujące w nas już tylko nazwiska pięknych dam, które lokaj oznajmia u wejścia do sali balowej. Powiedziano mi, że ujrzę w alei elegantki, które, mimo iż nie wszystkie miały mężów, cytowano zazwyczaj obok pani Swann, ale najczęściej pod pseudonimami; nowe ich nazwiska — o ile je miały — były jedynie rodzajem incognita, które znajomi, mówiąc o tych kobietach, zwykli byli uchylać dla lepszego porozumienia się. Sądząc, że Piękno — w hierarchii żeńskich elegancji — rządzi się tajemnymi prawami, w których wiedzę kobiety te były wtajemniczone i miały moc zrealizowania ich, z góry przyjmowałem jako rewelację harmonię ich tualet, zaprzęgów, tysiąc szczegółów, w których składałem moją wiarę, niby tajemną duszę, dającą owej nietrwalej i zmiennej całości jednolitość arcydzieła.

Ale ja pragnąłem widzieć panią Swann, czekałem, aż będzie przechodziła, wzruszony tak, jakby to miała być Gilberta. Rodzice Gilberty, przepojeni dla mnie, jak wszystko, co ją otaczało, jej urokiem, budzili we mnie tyleż miłości co ona, a nawet boleśnieszsze wzruszenie, skoro styczność ich z Gilbertą była ową tajemną częścią życia Gilberty mnie wzbronioną; budzili wreszcie we mnie owo uczucie czci, jakie zawsze mamy dla osób posiadających nieograniczoną możność czynienia nam złego. Bo dowiedziałem się

niebawem, jak się okaże, że oni nie lubili, abym ja się bawił z Gilbertą. W hierarchii estetycznych zalet i światowego wykwiutu przyznawałem pierwszeństwo prostocie, kiedy widział panią Swann pieszo, w sukienym kontusiku, w toczku przybranym skrzydłem lofofora, z bukietem fiołków przy staniku, spieszącą się, mijającą aleję des Acacias, tak jakby to była po prostu najkrótsza droga do domu, i oddającą leciutki ukłon panom w powozach, którzy, poznając z daleka jej sylwetkę, kłaniali się, powiadając sobie, że nikt nie ma tyle szyku. Ale w miejsce prostoty stawałem na najwyższym miejscu przepych, kiedy, zmusiwszy Franciszkę, ledwie zdolną iść i powiadającą, że nóg nie czuje, do dreptania godzinę tam i z powrotem, ujrzałem wreszcie, wylaniającą się od porte Dauphine, wiktoria pani Swann unoszoną przez parę ognistych, szczupłych i stylizowanych koni, takich, jakie się widzi na rysunkach Constantina Guys, dźwigającą na koźle olbrzymiego stangreta w futrzanej czapie kozackiej, obok małego grooma, przypominającego balzakowskiego *tigre* „nieboszczyka Beaudenord”; kiedy ujrzałem — lub raczej uczulem jej kształt, rysujący się w moim sercu ostrą i wyczerpującą raną — tę nieporównaną wiktoria, umyślnie trochę za wysoką, zdradzającą, poprzez swój zbytek „dernier cri”, aluzje do dawnych form. Ten obraz to było dla mnie wcielenie królewskiego prestige’u, monarszego wjazdu, z którego wrażeniem nie mogła później dla mnie rywalizować żadna prawdziwa królowa, ponieważ miałem o ich władzy pojęcie mniej mgliste i bardziej doświadczalne. W wiktorii spoczywała niedbale pani Swann, z włosami obecnie blond, z jednym puklem siwym, przepasanymi wąską wstążką kwiatów, najczęściej fiołków, z której spływały długie welony. W ręce miała parasolkę lila, na ustach dwuznaczny uśmiech, w którym widziałem jedynie łaskawość Majestatu, a w którym była zwłaszcza zalotność kokoty. Skłaniała łagodnie ten uśmiech ku osobom, które ją witały; jednym mówił on: „Pamiętam wybornie, to było rozkoszne!”, drugim: „Jak ja byłabym chciała! To był fatalny zbieg okoliczności!”, innym: „Ależ owszem! Jakiś czas będę jechała w sznurze powozów, a skoro będę mogła, skręcę”. Nawet kiedy przechodzili nieznajomi, pozwalała igrać na wargach leniwemu uśmiechowi natchnionemu jak gdyby oczekiwaniem lub wspomnieniem kochanka, wyrzuwając okrzyk: „Jaka ona piękna!”. A tylko dla niektórych mężczyzn miała uśmiech cierpki, sztuczny, niespokojny i zimny, który znaczył: „Tak, bydlę, wiem, że masz język żmii i że nie możesz się wstrzymać, aby nie paplać! Czy ja się tobą zajmuję, powiedz?”.

Przechodził Coquelin, rozprawiając w gronie przyjaciół i słał dłonią szerokie teatralne pozdrowienia osobom w powozach; ale ja myślałem tylko o pani Swann i udawałem, że jej nie widzę, bo wiedziałem, że w pobliżu *Tir aux pigeons* każe stangretowi zjechać w bok i zatrzymać się, aby iść pieszo. I w dniu, w którym miałem odwagę przejść koło niej, ciągnąłem Franciszkę w tym kierunku. W pewnej chwili w istocie spostrzegłem w alei dla pieszych panią Swann, idącą ku nam, wlokącą długi tren sukni lila, ubraną — tak jak sobie lud wyobraża szaty królowych — w bogate materie i stroje, których inne kobiety nie nosiły. Chwilami spuszczała oczy na rękojeść umbrelki, mało zwracała uwagi na przechodniów, tak jakby najważniejszą jej sprawą i celem było użyć ruchu, bez myśli o tym, że jest widziana i że wszystkie głowy zwracają się ku niej. Czasem tylko, kiedy się odwróciła, aby zawołać swego charta, rzucała nieznacznie dokoła siebie okrężne spojrzenie.

Ci nawet, którzy jej nie znali, zgadywali po czymś osobliwym i niezwykłym — lub może przez telepatyczne promieniowanie podobne temu, jakie rozpętywało oklaski w nieświadomym tłumie w najwspanialszych momentach Bermy — że to musi być osoba znana. Pytali się: „Kto to jest?” — czasem zapytywali przechodnia lub starali się zapamiętać toaletę jako punkt orientacyjny dla świadomszych przyjaciół, aby ich zapytać później. Inni, przystając na chwilę, powiadali:

— Wie pan, kto to jest? Pani Swann! To panu nic nie mówi? Odeta de Crécy?

— Odeta de Crécy? Ależ tak, powiadałem sobie: te smutne oczy... Ale wie pan, że ona nie musi być już pierwszej młodości! Przypominam sobie, że z nią coś miał w dniu dymisji Mac-Mahona.

— Sądzę, że lepiej pan zrobi, nie przypominając jej tego. To jest teraz pani Swann, żona jegomościa z Jockey clubu, przyjaciela księcia Walii. Jest zresztą jeszcze wspaniała.

— Tak, ale gdyby pan ją znał w owej epoce, och, jakaż była śliczna! Mieszkała w małej willi bardzo osobliwej, pełno tam było chińszczyzny. Przypominam sobie, że nam zmącili spokój chłopcy z nadzwyczajnymi dodatkami, w końcu kazała mi wstać z łóżka.



Nie słysząc tych uwag, czułem dokoła pani Swann nieuchwytny szmer sławy. Serce biło mi z niecierpliwości na myśl, że upłynie jeszcze chwila, zanim wszyscy ci ludzie (z rozpaczą zauważyłem wśród nich brak pewnego bankiera Mulata, który — czułem to — lekceważył mnie) ujrzą, iż nieznajomy młody człowiek, na którego nie zwracali żadnej uwagi, ukloni się (nie znając jej wprawdzie, ale sądziłem, że mam do tego prawo, skoro rodzice moi znali męża pani Swann, a ja bawiłem się z jej córką) tej kobiecie, słynnej z piękności, złego prowadzenia się i elegancji. Ale już znalazłem się na wprost pani Swann; wówczas składałem jej ukłon tak szeroki, tak długi, że nie mogła się wstrzymać od uśmiechu. Ludzie śmiali się. Co do niej, nie widziała mnie nigdy z Gilbertą, nie znała mojego nazwiska, ale byłem dla niej — niby jeden z dozorców w Lasku albo przewoźnik, albo kaczkę na jeziorze, którym rzucała chleb — jednym z drugorzędnych, codziennych, bezimiennych figurantów jej przejażdżek po Lasku, równie pozbawionym indywidualnego charakteru jak statysta w teatrze.

W pewne dni, kiedy nie widziałem pani Swann w alei des Acacias, zdarzało mi się spotkać ją w alei Reine-Marguerite, w którą zapuszczają się kobiety, gdy pragną być same lub udawać, że pragną być same; nie zostawała długo sama, zawsze dogonił ją jakiś wielbiciel — często w szarym cylindrze — ktoś, kogo nie znałem i kto rozmawiał z nią długo, podczas gdy oba powozy jechały za nimi.

Tę różnorodność Lasku bulońskiego, która czyni zeń miejsce sztuczne — Ogród w zoologicznym lub mitologicznym znaczeniu słowa — odnalazłem w tym roku, kiedy przechodziłem Lasek, udając się do Trianon. Był to jeden z pierwszych poranków listopada, kiedy w paryskich domach bliskość, a zarazem brak obrazu jesieni kończącej się tak szybko, bez naszego udziału, budzą nostalgię, istną gorączkę zwiędłych liści, dochodzącą czasem do bezsenności. W moim zamkniętym pokoju owe liście jesienne — wywołane pragnieniem ujżenia ich — stawały od miesiąca między moją myślą a łada przedmiotem i wirowały niby żółte plamy, które czasem, na co bądź patrzymy, tańczą nam przed oczami. I tego rana, nie słysząc już, aby deszcz padał jak w poprzednie dni, widząc, że piękna pogoda uśmiecha się w szczelinach firanek niby w kącikach zamkniętych ust, które dają się wymknąć tajemnicy szczęścia, uczułem, że mógłbym ujrzeć owe żółte liście prześwietlone słońcem w pełni ich kraszy; i nie mogąc się powstrzymać od ujżenia drzew (tak samo jak niegdyś, kiedy wiatr dął za mocno w kominku, od wybrania się nad morze), wyszedłem, aby się udać do Trianon przez Lasek Buloński. Była to godzina i pora roku, w której Lasek wydaje się może najbardziej wieloraki, nie tylko dlatego, że jest najbardziej zróżnicowany, ale że jest zróżnicowany inaczej. Nawet w otwartych miejscach, skąd ogarnia się wielką przestrzeń, na wprost ciemnych, dalekich mas drzew bez liści lub z liśćmi jeszcze z lata, tu i ówdzie podwójny rząd rudawych kasztanów robił wrażenie, jak gdyby na ledwo rozpoczętym obrazie dekorator wymalował tylko te kasztany, zanim jeszcze pociągnął farbą inne partie; i aleja ta ukazywała się w pełnym świetle, zapraszając do przechadzki jakieś osoby, które domaluje się później.

Nieco dalej, tam gdzie drzewa były pokryte zielonymi liśćmi, jedno małe, krępe, bez głowy, ale uparte, potrząsało na wietrze brzydkią, czerwoną chyra<sup>28</sup>. Gdzie indziej znowuż pierwsze przebudzenie, istny maj liści: liście cudownego samopnącego wina, uśmiechniętego niby zimowa róża, kwitły od samego rana. Lasek miał prowizoryczny i sztuczny wygląd szkółki drzew albo parku, gdzie czy to dla celów botanicznych, czy w przeddzień jakiegoś festynu, pomieszczono pośród pospolitych drzew, jeszcze nieusuniętych, parę cennych egzemplarzy o fantastycznym ulistnieniu, zdających się dokoła siebie stwarzać wrażenie przestrzeni, powietrza, jasności.

Tak więc była to pora, kiedy Lasek Buloński ujawnia najwięcej różnorodnych elementów i składa najwięcej odmiennych partii w skomplikowaną całość. I godzina była po temu. Tam, gdzie drzewa jeszcze zachowały liście, uległy one jak gdyby skażeniu swojej materii, począwszy od punktu, w którym dotknęło je światło, rano prawie horyzontalne, tak jak znów miało się stać horyzontalne w parę godzin później o zmierzchu, w chwili, gdy zapala się jak lampa, muska z daleka zieleń sztucznym i gorącym blaskiem i rozplómienia

<sup>28</sup>chyra (gw.) — kołtun. [przypis edytorski]

ostatnie liście drzewa sterczącego niby niepalny i matowy kandelabr z płonącym wierzchołkiem. Tu światło pogrubiało liście kasztanu jak cegły i niby w żółtej budowli perskiej w niebieskie wzory, spajało je grubo z niebem; ówdzie znowuż odcinało je od nieba, w którego stronę kasztany zakrzywiały swoje złote palce. W połowie drzewa przybranego dzikim winem słońce zaszczeniało i rozwijało olbrzymi bukiet jak gdyby czerwonych kwiatów — może odmianę goździka — niepodobny do wyraźnego rozpoznania w tym olśnieniu. Różne partie Lasku, w lecie bardziej wtopione w gęstość i monotonię zieleni, teraz występowały na jaw. Wolniejsze przestrzenie odsłaniały przystęp do wszystkich prawie partii lub też bujniejsze listowie zwiastowało je jak sztandar. Rozpoznawało się niby na kolorowej mapie Armenonville, Pré Catelan, Madrid, pole wyścigowe, wybrzeże jeziora. Chwilami zjawiała się jakaś zbyteczna budowla, fałszywa grotta, młyn, któremu drzewa, rozstępując się, robiły miejsce, lub który wysuwał się naprzód na miękkiej platformie trawnika. Czuło się, że Lasek to nie jest tylko lasek, że odpowiada jakiemuś przeznaczeniu odrębnemu od życia jego drzew, a przyczyną mego podniecenia był nie tylko podziw dla jesieni, ale jakieś mętne pożądanie. Wielkie źródło radości, którą dusza odczuwa, zrazu nie pojmując jej przyczyny, nie rozumiejąc, że nic z zewnątrz jej nie tłumaczy.

Tak patrzyłem na drzewa z niespokojną czułością, która je przerastała i która bez mojej wiedzy biegła ku arcydziełu przechadzających się kobiet, zjawiających się wśród tych drzew codziennie przez kilka godzin. Skierowałem się ku alei des Acacias. Mijałem gęstwinę, w której ranne światło przycinało drzewa, układając z nich nowe grupy, splatając różne gałęzie i układając bukiety. Światło przyciągało z ręcznie do siebie dwa drzewa; wspomagając się potężnymi nożycami promieni i cienia, odcinało każdemu z nich połowę pnia i gałęzi; zespalać z sobą pozostałe połowy, czyniło z nich bądź jeden filar cienia, ograniczonego słonecznym kręgiem, bądź jedno widmo światła, którego sztuczny i drżący kontur okalała sieć czarnego cienia.

Kiedy promień słońca złocił najwyższe gałęzie, zdawało się, iż skąpane w lśniącej wilgoci wylaniają się same z płynnej i szmaragdowej atmosfery, w której las kąpał się niby w morzu. Bo drzewa dalej żyły własnym życiem i kiedy nie miały już liści, lśniło się ono tym pięknie na pokrowcu zielonego aksamitu otulającym ich pnie lub w białej emalii kul jemioli rozsianych na szczycie topoli, okrągłych jak słońce i księżyc w *Stworzeniu* Michała Anioła. Ale zmuszone od tylu lat, mocą jakiegoś szczepienia, żyć razem z kobietą, drzewa te wyczarowały mi driadę, piękną światową damę, barwną i chyżą, którą w przejściu pokryły gałęzmi, zmuszając, aby odczuwała jak one potęgę pór roku; przypomniały mi szczęśliwe czasy mojej wierzającej młodości, kiedy spieszył żarliwie w miejsca, gdzie arcydzieła kobiecej elegancji miały się ziścić na chwilę pośród nieświadomych współdziałających drzew.

Ale piękność, której pragnienie budziły świerki i akacje Lasku Bulońskiego, bardziej tym samym wzruszające niż kasztany i bzy Trianon, które miałem oglądać, nie żyła na zewnątrz mnie przez wspomnienie jakiejś epoki historycznej, w dziełach sztuki, w świątyni miłości, u której stóp gromadzą się liście inkrustowane złotem.

Dotarłem do jeziora, zaszedłem aż do *Tir aux pigeons*. Ideę doskonałości, jaką nosiłem w sobie, pomieściłem niegdyś w wysokości wiktorii pani Swann, w chudości koni, wściekłych i lekkich jak osy, z oczami nabiegłymi krwią na kształt okrutnych rumaków Diomedesa; i teraz, zdjęty żądzą ujrzenia tego, co niegdyś kochałem, żądzą równie namiętną jak ta, która mnie pchała wiele lat przedtem na te same drogi, chciałem mieć znów przed oczami tę wiktorię w chwili, gdy olbrzymi stangret pani Swann, pod dozorem małego grooma, młodzieńczego jak Święty Jerzy, próbował poskromić ich stalowe skrzydła, które szamotały się przerażone i drżące. Niestety! Były już tylko samochody prowadzone przez wąsatych szoferów, którym towarzyszyli rośli lokaje. Byłbym chciał oglądać fizycznymi oczami owe kapelusiki damskie, tak niskie, że zdawały się prostym wiankiem, aby sprawdzić, czy były równie urocze, jak się zdawały urocze oczom mojej pamięci. Teraz wszystkie kapelusze były ogromne, pokryte owocami, kwiatami, ptactwem. W miejsce pięknych sukien, w których pani Swann wyglądała jak królowa, grecko-saksońskie tuniki z fałdami *tanagra*, a czasami *Directoire*, spotykały się ze szmatkami *liberty* malowanymi w kwiaty jak tapeta. Na głowie panów, którzy mogliby się przechadzać z panią Swann w alei Reine-Marguerite, nie ujrzałem dawnego szarego kapelusza ani w ogóle kapelu-

sza. Chodzili z gołą głową. I nie miałem już wiary, którą bym mógł ogarnąć wszystkie te nowe partie obrazu, dając im konsystencję, jedność, istnienie; przesuwały się przede mną bezładne, przypadkowe, nieprawdziwe, nie zawierając żadnych elementów piękności, które by moje oczy mogły jak niegdyś starać się zgrupować. Były to przeciętne kobiety, w których elegancję nie wierzyłem i których toalety wydawały mi się bez znaczenia. Ale kiedy znika wiara, zostaje po niej — i coraz to żywsze, aby zamaskować utratę dawnej naszej mocy dawania realności nowym rzeczom — fetyszystyczne przywiązanie do rzeczy dawnych, które ożywiała owa wiara; tak jakby to w niej, a nie w nas mieszkała boskość i jak gdyby nasze obecne niedowiarstwo miało zewnętrzną przyczynę — śmierć Bogów.

Co za okropność! — powiadałem sobie: czy mogą się komu te samochody wydawać eleganckie jak dawne zaprzęgi? Jestem już zapewne za stary, ale nie jestem stworzony dla świata, w którym kobiety chodzą spętane w suknie z tandetnej materii. Po co zachodzić pod te drzewa, jeżeli nie istnieje nic z tego, co żyło pod ich delikatnymi i rdzawymi liśćmi, jeżeli pospolitość i szaleństwo zastąpiły wdzięk, któremu one służyły za oprawę. Co za okropność! Moja pociecha dziś, kiedy już nie ma elegancji, to myśleć o kobietach, które znałem. Ale w jaki sposób ludzie, patrzący na te okropne stwory pod kapelusami zmienionymi w ptaszkarńnię lub w ogród warzywny, mogliby nawet odczuć, jak uroczym zjawiskiem była pani Swann w skromnej budce lila albo w małym kapelusiku, na którym wznosił się jedynie prosty kwiat irysu. Czyż mógłbym nawet wytłumaczyć im wzruszenie, jakiego doznawałem w zimowe poranki, spotykając panią Swann idącą pieszo w fokowym palcie, w skromnym bereciku strojnym w dwa ostrza skrzydeł kuropatwy; ale niosącą z sobą przegrzaną atmosferę swego apartamentu, bodaj we wtulonym w jej stanik bukietu fiołków, którego żywe i błękitne kwitnienie na tle szarego nieba, mroźnego powietrza, nagich gałęzi miało również ten urok, że brało porę i czas jedynie jako ramę i żyło w atmosferze ludzkiej, w atmosferze tej kobiety, podobnie jak w wazonach i żardynierach jej salonu, w pobliżu płonącego ognia, na wprost jedwabnej kanapy żyły kwiaty przyglądające się przez okno, jak śnieg pada.

Zresztą nie byłoby mi wystarczyło, aby toalety były takie same jak w owych latach. Istnieje solidarność, która spaja rozmaite części wspomnień; pamięć nasza harmonizuje je i zachowuje w całości, z której nic nam nie wolno uronić ani odrzucić. Toteż byłbym pragnął zakończyć wieczór u jednej z tych kobiet przy filiżance herbaty, w ciemno malowanym salonie, jak salon pani Swann w roku zamykającym pierwszą część tego opowiadania; gdzie w listopadowym zmierzchu błyszczwałyby pomarańczowe ognie, czerwony pożar, różowy i biały płomień zlocieni, w chwili podobnej tym, w których (jak się okaże później) nie umiałem się rozeznaczyć we własnych pragnieniach. Ale teraz owe chwile, nawet nie prowadząc mnie donikąd, zdawały mi się same w sobie pełne uroku. Byłbym chciał je odnaleźć takie, jak je sobie przypominałem. Niestety! Istniały już tylko apartamenty Louis XVI, całe białe, emaliowane błękitnymi hortensjami. Wracano zresztą do Paryża bardzo późno. Pani Swann — gdybym ją poprosił, aby odtworzyła dla mnie składniki owego wspomnienia związanego dla mnie z odległym rokiem, z tysiącleciem, do którego nie wolno mi już wrócić; składniki owego pragnienia, które stało się samo niedostępne jak przyjemność niegdyś ścigana na próżno — pani Swann odpowiedziałaby mi z jakiegoś zamku, że wróci aż w lutym, dobrze już po sezonie chryzantem. A byłoby mi trzeba także, aby to były te same kobiety, te, których toaleta interesowała mnie, ponieważ w czasie, kiedy jeszcze wierzyłem, wyobraźnia moja zindywidualizowała je i udarowała legendą. Niestety! W Avenue des Acacias — w alei Mirtowej — ujrzałem niektóre z nich, stare, straszliwe cienie tego, czym były niegdyś, błądzące, szukające rozpaczliwie w wirgiliańskich gajach nie wiadomo czego. Uciekły od dawna, kiedy ja jeszcze pytałem daremnie opustoszałych dróg. Słońce schowało się. Natura zaczynała panować nad Laskiem, skąd uleciała idea, że był on elizejskim Ogrodem Kobiety; nad sztucznym młynem prawdziwe niebo było szare; wiatr marszczył jezioro drobnymi falami niby sadzawkę; wielkie ptaki przebiegały szybko Lasek niby las i wydając ostre krzyki, siadały rzędem na dębach, które pod druidyczną koroną i z dodonejskim majestatem zdawały się głosić nieludzką pustkę lasu wyzutego ze swego przeznaczenia, pomagając mi zrozumieć nonsens, jakim jest szukać w realnym świecie obrazów pamięci: zawsze będzie im brakowało czaru, którego użycza sama pamięć i to że ich nie poznamy przez zmysły. Rzeczywistość, którą znałem — nie istniała już. Wystarczyło, że pani Swann nie zjawiała się zupełnie taka sama, w tej

samej chwili, aby aleja stała się inna. Miejsca, któreśmy znali, należą nie tylko do świata przestrzeni, w który wstawiamy je dla większej wygody. Były one jedynie cienką warstwą pośród ciągłości wrażeń, tworzących nasze ówczesne życie; wspomnienie jakiegoś obrazu jest jedynie żalem za pewną chwilą; i domy, drogi, aleje są ulotne, niestety, jak lata.

*W cieniu zakwitających dziewcząt*

*W cieniu zakwitających dziewcząt*

# TOM PIERWSZY

Kiedy była mowa o tym, aby zaprosić pierwszy raz pana de Norpois na obiad, matka wyraziła żal, że profesor Cottard jest w podróży i że się tak rozchwały stosunki ze Swannem, bo i jeden i drugi zainteresowałby z pewnością byłego ambasadora. Na co ojciec odpowiedział, że człowiek wybitny, znakomity uczony, jak Cottard, zawsze może być ozdobą stołu; ale Swann, ze swoją manią puszenia się i przechwalania byle znajomościami, jest pospolity bufon, o którym margrabia de Norpois orzekłby z pewnością, że — aby użyć jego wyrażenia — „cuchnie”.

Ta odpowiedź ojca wymaga paru słów objaśnienia, niektórzy bowiem przypominają sobie pana Cottard jako bardzo mierną figurę, Swanna zaś jako człowieka posuwającego do najdalszych granic skromność i dyskrecję towarzyską. Ale, co się tyczy Swanna, zdarzyło się, że do „młodego Swanna”, a także do Swanna z Jockey Clubu, dawnego przyjaciela rodziców, przybyła nowa (i nie ostatnia jeszcze) osobistość: — Swann jako mąż Odety. Przystosowując do niewysokich ambicji tej kobiety instynkt, pasję, spryt, które zawsze posiadał, Swann silił się zbudować, o wiele poniżej swojej dawnej sfery, nową pozycję, dostosowaną do towarzyski życia mającej ją z nim dzielić. Otóż w tej sytuacji Swann był jak gdyby innym człowiekiem. Bywając wciąż na własną rękę u swoich osobistych przyjaciół, którym nie chciał narzucić Odety, skoro sami nie objawiali chęci poznania jej, równocześnie rozpoczynał z żoną nowe życie wśród nowych ludzi; można by tedy zrozumieć, że, dla określenia ich stanowiska, a tym samym własnej satysfakcji czerpanej w obcowaniu z nimi, posługiwał się, jako punktem porównania, nie ludźmi najświetniejszymi, stanowiącymi przed małżeństwem jego sferę, lecz poprzednimi stosunkami Odety. Ale, nawet kiedy się wiedziało, że dzisiejszy Swann łącznie znajomości z dość obskurnymi urzędnikami, z wątpliwymi damami — ozdobą ministerialnych bałów — można się było zdumieć, iż on, który niegdyś — a nawet jeszcze dzisiaj — tak wykwintnie ukrywał jakieś zaproszenie do Twickenham albo do Buckingham Palace, chełpi się głośno, że małżonka jakiegoś zastępcy naczelnika wydziału rewizytowała jego żonę. Powie może ktoś, że poprzednia prostota wytwornego Swanna była jedynie wyrafinowaną formą próżności i że, jak się zdarza u Izraelitów, ten dawny przyjaciel moich rodziców mógł streszczać kolejne etapy ludzi swojej rasy, od prymitywnego snobizmu i pospolitego chamstwa aż do najwyrafinowanej<sup>29</sup> grzeczności. Ale główną przyczyną — i tę można przypisać ludzkości w ogóle — było to, że nawet nasze cnoty nie są czymś luźnym, płynnym, czym możemy zawsze rozrządzać do woli; zespalają się one w końcu tak ściśle w naszym umyśle z czynnościami, które nam je nałożyły, że, o ile się nastęrczy aktywność innego rodzaju, zastaje nas ona nieprzygotowanych, i nawet nam na myśl nie przychodzi, że mogłaby się kojarzyć z działaniem tych samych zalet. Swann, zabiegający o te nowe stosunki i chełpiący się nimi, był jak owi wielcy a skromni artyści, którzy, skoro pod koniec życia zapalą się do kuchni lub ogrodnictwa, objawiają naiwne zadowolenie z pochwał, jakimi ktoś darzy ich potrawy lub ich grządki; w tym przedmiocie nie dopuszczają krytyki, którą znoszą tak łatwo, gdy chodzi o ich arcydzieła; inni znowuż, hojnie rozdając swoje obrazy gratis, nie umieją pogodnie znieść parofrankowej przegranej w domino.

Ale profesora Cottard ujrzymy na dłużej, znacznie później, u „pryncypalki”, w posiadłości jej la Raspeliere. Na razie niech w jego przedmiocie wystarczy jedna uwaga, w zestawieniu ze Swanem. Co się tyczy Swanna, odmiana jego może ostatecznie zdziwić, ile że się spełniła bez mojej świadomości wówczas, gdy widywałem ojca Gilberty na Polach Elizejskich, gdzie zresztą nie odzywał się do mnie, nie mógł się tedy popisywać przede mną swymi stosunkami w świecie oficjalnym. (Prawda, że gdyby nawet to robił, nie byłbym się może zaraz poznał na jego próżności, pojęcie bowiem, jakieśmy sobie od dawna wytworzyli o danej osobie, zamyka nam oczy i uszy: tak np. matka moja przez trzy lata nie spostrzegła, że jedna z jej siostrzenic maluje sobie usta; zupełnie tak jak gdyby szminka rozpuściła się nieznacznie a doszczętnie w jakimś płynie, aż do dnia, w którym nadmiar barwiczki lub inny jakiś powód wywołał zjawisko zwane przesyleniem;

<sup>29</sup>wyrafinowany, najwyrafinowany — dziś popr.: bardziej wyrafinowany, najbardziej wyrafinowany. [przepis edytorski]

cała wprzód niezauważona szminka skryształizowała się i, wobec tej nagłej rozpusty barw, matka oświadczyła — stylem Combray — że „to ohyda”, zrywając niemal wszelkie stosunki z siostrzenicą). Przeciwnie, co się tyczy pana Cottard, epoka, w której ukazaliśmy go świadkiem pierwszych kroków Swanna u państwa Verdurin, była już dość odległa; otóż, zaszczyty i tytuły przychodzą z wiekiem; po wtóre, można być niewykształconym literacko, robić idiotyczne kalambury, a posiadać swoisty dar, którego nie zastąpi żadna ogólna kultura; dar wielkiego wodza lub wielkiego klinicysty. Koledzy patrzyli na Cottarda nie tylko jak na pokątnego praktyka, który się stał z czasem europejską sławą. Najinteligentniejsi młodzi lekarze oświadcza — bodaj przez kilka lat, bo mody się zmieniają, zrodziwszy się z potrzeby zmiany — iż gdyby się im zdarzyło zachorować, jednemu Cottardowi oddaliby się w ręce. Bez wątpienia, woleli towarzystwo innych profesorów, bardziej odczytanych, wyrobionych artystycznie, z którymi można było mówić o Nietzschem, o Wagnerze. Kiedy muzykowano w dniu przyjęć u pani Cottard, która przyjmowała kolegów i uczniów męża w nadziei, że profesor zostanie kiedyś dziekanem, on sam, zamiast słuchać, wołał grać w karty w sąsiednim pokoju. Ale chwalono szybkość i przenikliwość jego spojrzenia, pewność jego diagnozy.

Po trzecie, co się tyczy wzięcia profesora Cottard, oglądanego oczami człowieka takiego jak mój ojciec, zauważmy, że natura, jaką ujawniamy w drugiej połowie życia, nie zawsze jest — choć i to bywa — pierwotną naszą naturą rozwiniętą lub zmarniałą, zgrubiałą lub zwątloną; czasem jest to natura wręcz przeciwna, niby przenicowane ubranie. Z wyjątkiem państwa Verdurin, którzy się rozkochali w doktorze, niepewna mina Cottarda, jego nieśmiałość, jego nadmiar uprzejmości, ściągaly nań od młodu wieczne przycinki. Któryż miłosierny przyjaciel doradził mu minę lodowatą? Powaga stanowiska ułatwiła mu przybranie tej miny. Wszędzie, z wyjątkiem salonu państwa Verdurin, gdzie bezwiednie stawał się z powrotem sobą, Cottard robił się zimny, rozmyślnie milczący, apodyktyczny, gdy trzeba było zabrać głos, przy czym nie omieszkwał mówić ludziom przykrych rzeczy. Mógł wypróbować to nowe wzięcie na pacjentach, którzy, nie znając go wprzód, nie mogli robić porównań i byłiby bardzo zdziwieni, dowiadując się, że szorstkość profesora nie płynie z jego natury.

Silił się zwłaszcza na chłód, i nawet podczas wizyty szpitalnej, popelniając jeden z owych kalamburów, które rozmieszały wszystkich, od pierwszego asystenta do najmłodszego eksterna, robił to zawsze tak, aby ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy, zmienionej zresztą do niepoznaki przez zgolenie brody i wąsów.

Powiedzmy na zakończenie, kim był margrabia de Norpois. Był przed wojną ministrem pełnomocnym, ambasadorem z 16 maja, mimo to, ku zdumieniu wszystkich, nieraz od tego czasu reprezentował Francję w specjalnych misjach, nawet jako kontroler długu publicznego w Egipcie, gdzie, dzięki swoim finansowym zdolnościom, oddał ważne usługi. Używały go do tych celów gabinety radykalne, którym prosty mieszczanin-reakcjonista wzdragałby się służyć, a które powinny by były zachować podejrzliwość wobec przeszłości pana de Norpois, wobec jego stosunków i przekonań. Ale ci postępowi ministrowie zdawali sobie widocznie sprawę, że taką nominacją okazują, jak daleko sięga ich szerokość poglądów, gdy chodzi o dobro Francji; tym samym wysuwali się na czoło polityków, zyskując to, że nawet sam „Journal des Debats” mienił ich mężami Stanu; przy czym korzystali i z uroku arystokratycznego nazwiska, i z sensacji nieoczekiwane go wyboru. Wiedzieli zarazem, że, powołując pana de Norpois, mogą zebrać wszystkie korzyści, nie potrzebując się obawiać z jego strony uchybienia lojalności politycznej; urodzenie margrabiego, zamiast go czynić podejrzanym w tej mierze, było im raczej rękojmnią. I w tym rząd Republiki nie mylił się. Arystokraci pewnego typu przywykli od dziecka uważać swoje nazwisko jako<sup>30</sup> organiczną właściwość, której nic nie może wydrzeć, a której wartość równi im lub jeszcze wyżsi znają dość dokładnie; tacy wiedzą, że mogą sobie oszczędzić daremnych wysiłków, jakich, przeważnie bez rezultatu, dokłada tylu mieszczan, aby wyznawać jedynie poglądy dystyngowane lub przestawać z osobami „dobre myślącymi”; w zamian za to, pragnąc się podnieść w oczach rodzin magnackich, poniżej których znajduje się bezpośrednio, arystokracja ta wie, że może to osiągnąć jedynie dodając do swego nazwiska coś, czego ono nie posiadało, a co, przy równej wartości nazwisk,

<sup>30</sup>uważać coś jako — dziś popr.: uważać coś za. [przypis edytorski]

przeważy szalę na ich korzyść: wpływy polityczne, sławę literacką lub artystyczną, wielki majątek. Obojętni dla bezpożytecznego szlachciury, cenionego przez mieszczaństwo, a nieprzynoszącego im swoją jałową przyjaźnią żadnego prestige'u<sup>31</sup> w oczach magnatów, karierowicze ci zachowują wszystkie swoje względy dla ludzi politycznych, choćby masonów, którzy mogą im pomóc do uzyskania ambasady lub mandatu; dla artystów lub uczonych, zdolnych poparciem swoim ułatwić „wypłynięcie” w sferze, w której królują; dla wszystkich wreszcie mogących im użyzyć nowego blasku lub pomóc do bogatego małżeństwa.

Ale, co się tyczy pana de Norpois, miał on za sobą przede wszystkim to, że w długiej praktyce dyplomatycznej nasiąkł owym duchem negatywnym, rutynicznym, konserwatywnym, zwanym „duchem rządu”, a będącym w istocie duchem wszelkich rządów, w szczególności zaś, pod wszelkimi rządami, duchem biurokracji. Nabył w dyplomacji wstręt, lęk i wzgardy do owych mniej lub więcej rewolucyjnych, a co najmniej niepoprawnych metod, jakimi są metody opozycji. Z wyjątkiem pewnych prostaków z ludu i z „towarzystwa”, dla których różnice gatunków są martwą literą, zbliża ludzi nie jedność przekonań, lecz powinowactwo ducha. Akademik typu pana Legouvé, zwolennik klasyków, chętniej oklaskiwałby pochwałę Wiktora Hugo wygłoszoną przez Maksyma du Camp lub pana de Mézières, niż pochwałę Boileau w ustach Claudela. Nacjonalizm wystarczy, aby zbliżyć Barrésa do jego wyborców, którzy nie robią zapewne różnicy między nim a panem Georges Berry; ale nie wystarczy, aby go zbliżyć do tych jego kolegów z Akademii, którzy, posiadając wspólne z nim przekonania, ale inną umysłowość, będą woleli od niego nawet przeciwników, jak panowie Ribot i Deschanel; a z tymi znowuż wierni monarchiści czują się o wiele bliżej niż z Maurrasem i Leonem Daudet, również pragnącymi powrotu króla.

Skąpy w słowach nie tylko przez zawodowy nawyk ostrożności i umiaru, ale także dlatego że słowa mają większą cenę, że przedstawiają więcej odcieni w oczach ludzi, których dziesięcioletnie wysiłki dla zbliżenia dwóch krajów streszczają się i wyrażają w przemówieniu, w protokole — prostym przymiotnikiem, banalnym na pozór, ale dla nich zawierającym całe światy, pan de Norpois uchodził za bardzo chłodnego w komisji, gdzie zasiadał obok mego ojca i gdzie każdy wieszował ojcu przyjaźni eks-ambasadora. Przyjaźń ta dziwiła nawet ojca. Z natury niezbyt uprzejmy, przywykł do tego, że nie cieszy się popularnością poza kręgiem bliskich znajomych i przyznawał się do tego z prostotą. Miał świadomość, że w życzliwości dyplomaty grał rolę moment na wskroś indywidualny, rozstrzygający o ludzkich sympatiach; ile że najcenniejsze przymioty umysłu lub serca u osoby, która skądinąd nudzi nas lub drażni, mniej będą dla nas warte niż swoboda i wesołość innego człowieka, dla wielu znowuż czcze i puste.

— Norpois zaprosił mnie znowu na obiad; to nadzwyczajne; wszyscy zdumieni są w komisji, gdzie nie utrzymuje z nikim stosunków osobistych. Jestem pewien, że znów mi opowie wstrząsające rzeczy o roku 1870.

Ojciec wiedział, że jedyny może pan de Norpois ostrzegał był swego czasu cesarza o rosnącej potęgze i o wojennych zamiarach Prus i że Bismarck miał jego inteligencję w osobliwej cenie. Świeżo jeszcze, w Operze, podczas gali na cześć króla Teodozjusza, dzienniki zauważyły długą rozmowę, jaką monarcha ów zaszczycił pana de Norpois.

— Muszę się dowiedzieć, czy ta wizyta króla jest naprawdę czymś ważnym — rzekł ojciec, który bardzo się interesował polityką zagraniczną. — Wiem, że stary Norpois nie jest skłonny do wynurzeń, ale ze mną tak się rozkrochmała!

Co się tyczy matki, być może iż z natury nie przepadała za rodzajem inteligencji, który reprezentował eks-ambasador. Godzi się rzec, iż konwersacja pana de Norpois była tak kompletnym repertuarem przestarzałych form wysłowienia, właściwych pewnemu zawodowi, pewnej klasie i epoce — epoce, która, dla tego zawodu i dla tej klasy, nie była może tak zupełnie minioną — iż żałuję czasami, że nie zapamiętał po prostu i dosłownie jego rozmów. Byłbym wówczas osiągnął wrażenie zamierzchłej mody równie tanim kosztem i w ten sam sposób, co ów farsowy aktor, który, pytany, skąd bierze swoje kapelusze, odpowiedział: „Ja ich nie biorę, ja je przechowuję”.

<sup>31</sup>prestige'u — dziś popr. zapis spolszczony: prestiżu. [przypis edytorski]

Słowem, sędzę, że matce wydawał się pan de Norpois nieco antyczny, co nie raziło jej bynajmniej z punktu widzenia manier, ale mniej zachwycało ją w dziedzinie nie poglądów — bo poglądy pana de Norpois były bardzo nowoczesne — lecz wyrażań. Czula jednakże, że mile głaszcze męża, mówiąc z zachwytem o dyplomacie, który darzył go tak rzadkim wyróżnieniem. Utrwalając w umyśle ojca jego dobre mniemanie o panu de Norpois i wzmacniając w nim przez to jego dobre mniemanie o sobie samym, matka miała uczucie, że spełnia jeden ze swoich obowiązków, polegający na tym, aby umilać życie mężowi, jak to czyniła czuwając nad tym, aby kuchnia była wyborna, a usługa cicha. Że zaś była niezdolna skłamać ojcu, ćwiczyła się sama w podziwieniu dla ambasadora, aby go móc szczerze chwalić. Ceniła zresztą w panu de Norpois wyraz dobroci, uprzejmość trochę niemodną i tak wyszukaną, kiedy np. idąc i prostując swoją wysoką postać, spostrzegłszy matkę jadącą powozem, zanim się jej uklonił, odrzucał ledwie napoczęte cygaro; rozmowę tak pełną umiaru, w której mówił jak najmniej o sobie i zawsze liczył się z tym, co może być najprzyjemniejsze partnerowi; zdumiewającą wreszcie punktualność w odpowiadaniu na listy. Czasami, kiedy, ledwie wysławszy list, ojciec otrzymywał kopertę z pismem pana de Norpois, pierwszą jego myślą było, że nieszczęśliwym wypadkiem listy ich się zmięły; można by sądzić, że dla pana de Norpois poczta wybiera listy w nadliczbowych godzinach! Matka zdumiewała się, że margrabia jest tak akuratywny, mimo iż tak zajęty, że jest tak uprzejmy, chociaż tak rozrywany, nie myśląc, że wszelkie „mimo” jest zawsze zapoznanym „ponieważ”, i że (tak samo jak starcy są zdumiewający na swój wiek, królowie pełni prostoty, a mieszkańcy prowincji *au courant*<sup>32</sup> wszystkiego) te same przyzwyczajenia pozwalają panu de Norpois czynić zadość tylu zajęciom i być tak akuratywnym w odpowiedziach, być miłym w wielkim świecie i uprzejmym dla nas. Co więcej, błąd mojej matki, jak u wszystkich osób zbyt skromnych, pochodził stąd, że rzeczy, które dotyczyły jej, kładła poniżej innych, tym samym poza innymi. Szybko odpowiedź, którą poczytywała za zasługę przyjacielowi ojca, dlatego że miał w ciągu dnia dużo listów do napisania, wyłączała z owej mnogości, w której ten list był tylko jednym więcej; tak samo nie zastanawiała się, że obiad u nas był dla pana de Norpois jednym z niezliczonych obrzędów jego życia towarzyskiego; nie przychodziło jej na myśl, że ambasador z dawna przywykł w dyplomacji uważać prośzone obiady za część swoich funkcji i rozwijać na nich zastarzały wdzięk, z którego nie miał powodu wyzuć się specjalnie, będąc na obiedzie u nas.

Pierwszy obiad z panem de Norpois, w roku, gdym jeszcze chodził się bawić na Pola Elizejskie, pozostał mi w pamięci, bo popołudniu tego samego dnia ujrzałem wreszcie Berme w *Fedrze*, a także bo w rozmowie z panem de Norpois zdałem sobie nagle sprawę, jak dalece uczucia moje we wszystkim, co dotyczyło Gilberty Swann i jej rodziców, różnią się od uczuć, jakie ta rodzina budzi w kimkolwiek innym.

Zapewne widząc przygnębienie, w jakim mnie pograżyły nadchodzące ferie noworoczne, podczas których — jak mi to Gilberta sama oznajmiła — nie miałem jej widzieć, jednego dnia, aby mnie rozerwać, matka rzekła:

— Jeżeli wciąż masz jeszcze wielką ochotę ujrzeć Berme, sędzę, że może ojciec pozwoliłby ci iść z babką do teatru.

To pan de Norpois powiedział ojcu, że powinien by mi pozwolić zobaczyć Berme, że to jest dla młodego człowieka cenne wspomnienie. Ojciec, dotąd przeciwny temu, abym miał tracić czas i narażać się na chorobę dla rzeczy, którą, ku zgorszeniu babki, nazywał głupstwem, skłonny był — pod wpływem uwagi ambasadora — uznać ten wieczór w teatrze za nieokreśloną część całokształtu cennych przepisów wiodących do świetnej kariery. Babka, która, wyrzekając się dla mnie korzyści, jaką, wedle niej, byłoby dla mnie widzieć Berme, robiła wielką ofiarę dla mego zdrowia, dziwiła się, że ten wzgląd stał się nagle nieważny na jedno słowo pana de Norpois. Pokładając niezłomne nadzieje racjonalistki w świeżym powietrzu i we wczesnym chodzeniu spać, które mi zalecano, bolała nad wyłomem w owym trybie i powtarzała ojcu: „Jakiś ty lekkomyślny!”. Na co ojciec, wściekły, odpowiadał: „Jak to! więc teraz mama nie chce, żeby on szedł do teatru! To paradne, a cały czas powiadała mama, że to będzie dla niego z pożytkiem”.

<sup>32</sup>*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]



Ale pan de Norpois odmienił intencje ojca w rzeczy o wiele dla mnie ważniejszej. Ojciec zawsze pragnął, abym został dyplomatą, ja zaś nie mogłem znieść myśli, iż, nawet gdybym miał spędzić jakiś czas w „centrali”, byłbym narażony na to, że mogliby mnie wysłać kiedyś jako ambasadora w kraje, gdzie nie mieszka Gilberta. Byłbym wolał wrócić do projektów literackich, którym tworzył niegdyś, a którym porzucił w czasie swoich spacerów w stronę Guermantes. Ale ojciec był stale przeciwny karierze literackiej, którą uważał za coś o wiele niższego od dyplomacji, odmawiając jej nawet miana kariery; aż do dnia, w którym pan de Norpois, nie bardzo lubiący dyplomatów z mieszczaństwa, upewnił go, że można jako pisarz zdobyć sobie tyleż uznania, działać równie skutecznie, a zachować większą niezależność.

— No i co, nie byłbym przypuszczal, stary Norpois nie jest wcale przeciwny literaturze — rzekł ojciec. Że zaś, dość ustosunkowany sam przez się, ojciec wierzył, iż nie ma rzeczy, której by się nie dało ułożyć i załatwić pomyślnie w rozmowie wpływowych ludzi, dodał:

— Ściągnę go któregoś dnia po komisji na obiad. Pomówisz z nim trochę, aby cię mógł ocenić. Napisz coś dobrego, co by mu można było pokazać; on żyje blisko z redaktorem „Revue des Deux Mondes”, wkręci cię tam, to spryciarz; a dalibóg, on, zdaje się, uważa, że dzisiaj dyplomacja!...

Szczęście, jakim byłoby nie rozstawać się z Gilbertą, wzbudziło we mnie chęć (ale nie zdolność) napisania pięknej rzeczy, którą by można pokazać panu de Norpois. Po pierwszych stronicach, nuda wytrącała mi pióro z ręki; płakałem z wściekłości, myśląc, że nigdy nie będę miał talentu, że nie mam zdolności i że nie będę mógł nawet skorzystać z szansy pozostania na zawsze w Paryżu, jaką mi daje bliska wizyta pana de Norpois. Jedynie myśl, że będę mógł zobaczyć Bermę, łagodziła moją zgrzyotę. Ale tak samo jak byłbym chciał oglądać burzę jedynie na wybrzeżach, gdzie bywa najgwałtowniejsza, tak samo byłbym chciał ujrzeć wielką aktorkę jedynie w jednej z klasycznych ról, w których, jak mi to mówił Swann, sięgała szczytu. Kiedy, w nadziei cennego odkrycia, pragniemy kosztować pewnych wrażeń natury lub sztuki, niezbyt jesteśmy skłonni zadowolić się w ich miejsce wrażeniem słabszym, zdolnym omamić nas co do ścisłej wartości Piękna. Berma w *Andromace*, w *Kapryśach Marianny*, w *Fedrze*, to były owe rzeczy sławne, których tak łaknęła moja wyobraźnia. Gdybym usłyszał Bermę recytującą ten wiersz:

„Mówią że nas opuszczasz w najbliższej godzinie,  
Książę,” etc.<sup>33</sup>

doznałbym tego samego zachwyty, co w dniu, w którym gondola zawiozłaby mnie do stóp Tycjana u Frari lub Carpaccia w San Giorgio dei Schiavoni.

Znałem te wiersze jedynie z prostej czarno-białej reprodukcji w druku; ale serce biło mi, kiedy myślał, niby o ziszczeniu jakiejś podróży, że ujrzeć je wreszcie skąpane w rozświetlonej atmosferze złotego głosu. Carpaccio w Wenecji, Berma w *Fedrze*, arcydzieła sztuki malarskiej lub dramatycznej! — związany z nimi urok czynił z nich coś tak żywego, to znaczy tak niepodzielnego, że gdybym zobaczył Carpaccia w Luwrze lub Bermę w jakimś nieznanym mi utworze, nie doświadczyłbym tego rozkosznego zdumienia, iż nagle oczy moje otwały się wobec niepojętego i jedynego przedmiotu tylu tysięcy moich snów. Oczekując zarazem od Bermy objawienia pewnych form szlachetności, bólu, sądziłem, że to co jest w jej grze wielkie i prawdziwe, musi być większe i prawdziwsze, gdy aktorka zwiąże to z dziełem istotnej wartości, zamiast jedynie haftować prawdę i piękno na miernej i pospolitej kanwie.

Gdybym wreszcie zobaczył Bermę w jakiej nowej sztuce, niełatwo by mi było osądzić jej kunszt, jej dykcję, skoro nie mógłbym dokonać rozdziału między tekstem — nieznanym mi z góry — a tym, co by mu przydały akcenty i gesty, zlewające się dla mnie z tekstem; natomiast dawne dzieła, umiane na pamięć, zdawały mi się niby wielkie przestrzenie, umyślnie zastrzeżone, gdzie bym mógł z całą swobodą oceniać inwencje, jakimi, niby freskiem, pokrywały je Berma w nieprzerwanym bogactwie natchnienia. Na nieszczęście od czasu, gdy opuściła wielkie sceny i napełniała kasę bulwarowego teatru, którego była

<sup>33</sup>etc. — skrót od łac. *et caetera*: i inne; i tak dalej. [przypis edytorski]

gwiazdą, nie grywała już klasyków; daremniem śledził<sup>34</sup> afisze; zawsze oznajmiały sztuki zupełnie nowe, fabrykowane specjalnie dla Bermy przez wziętych autorów. Naraz, jednego rana, szukając na słupie z afiszami „popołudniówek” na świąteczny tydzień, ujrzałem pierwszy raz — na zakończenie spektaklu, po jakiejś blahej (jak sądziłem) sztuczce, której tytuł wydał mi się mętny, ponieważ personifikował treść nieznaną mi akcji — dwa akty Fedry z panią Bermą, w dalszych zaś popołudniowych spektaklach *Półświatek*, *Kaprysy Marianny* — tytuły, które, jak *Fedra*, były dla mnie przejrzyste, napelnione samą jasnością, tak dobrze owe dzieła były mi znane, rozświecone do głębi uśmiechem sztuki. Tytuły te pomnażały mi dostojęstwo samej Bermy, kiedy wyczytał obok programu w dzienniku, że to ona zapragnęła pokazać się na nowo publiczności w paru dawnych kreacjach.

Zatem, artystka wiedziała, że niektóre role mają wartość trwalszą niż moment ich premiery lub sukces wznowienia; uważała je, w swojej interpretacji, za arcydzieła muzealne, warte, aby je na nowo ukazać oczom pokolenia, które ją w nich podziwiała, lub tego, które jej w nich nie zna. Kładąc tak na afiszu, pośród sztuk przeznaczonych jedynie na wypełnienie wieczoru, *Fedre*, której tytuł, nie dłuższy od tamtych tytułów, wydrukowano takimi samymi czcionkami, Berma czyniła jak gdyby gest gospodyni domu, gdy przedstawiając nas gościom w chwili siadania do stołu, wymienia pośród obojętnych nazwisk, nie zmieniając tonu: „pan Anatol France”.

Lekarz, który mnie miał w swojej opiece — ten sam, który mi zabronił wszelkich podróży — odradzał rodzicom dla mnie teatr; wróciłbym (powiadał) z teatru chory, może na długo, i w sumie przyniosłoby mi to więcej cierpienia niż przyjemności. Ta obawa mogłaby mnie powstrzymać, gdyby to, czegom oczekiwał po takim widowisku było tylko przyjemnością, którą suma późniejszego cierpienia może sprowadzić do zera. Ale to, czegom żądał od tego widowiska — tak samo jak od wymarzonej podróży do Balbec lub do Wenecji — było zupełnie czymś innym niż przyjemnością; spodziewałem się po tym prawd należących do świata realniejszego niż ów, w którym żyłem; prawd, których, skoro je raz posiadam, nie mogłyby mi wydrzeć blahe — choćby nawet bolesne dla mego ciała — wypadki mojej częściej egzystencji. Co najwyżej, przyjemność, jakiej kosztowałbym w teatrze, wydawała mi się potrzebną może formą doznania tych prawd; to wystarczało, abym pragnął, by przepowiedziane cierpienia zaczęły się aż po spektaklu, nie psując i nie fałszując tej przyjemności. Błagałem rodziców, którzy, od czasu wizyty lekarza, nie chcieli mi pozwolić iść na *Fedre*. Powtarzałem sobie bez końca tyradę: „Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie”, próbując wszelkich intonacji, jakie można by w nią włożyć, iżbym mógł lepiej zmierzyć niespodziankę akcentu, jaki znajdzie dla niej Berma. Boskie Piękno, ukryte jak *sanctissimum* pod zasłoną, która mi je kryła i poprzez którą użyczałem mu co chwilę nowej postaci, w duchu słów Bergotte’a — w plakietce odnalezionej przez Gilbertę — wciąż powracających w mojej myśli: „uplastyczniona szlachetność, chrześcijańska włościennica, jansenistyczna bladeść, księżna Trezeny i de Clèves, mykeński dramat, delficki symbol, mit słoneczny”, — boskie Piękno, które miała mi odsłonić gra Bermy, królowała dniem i nocą na wciąż oświeconym ołtarzu, w głębi mojej duszy, w oczekiwaniu, aż wyrok moich surowych i lekkomyślnych rodziców orzeknie, czy dusza ta posiada — i to na zawsze — doskonałości Bóstwa odsłoniętego w tym samym miejscu, w którym wznosił się jego niewidzialny kształt.

I z oczyma wlepionymi w niepojęty obraz, walczyłem od rana do wieczora przeciw zaporom, jakie stawiała mi rodzina. Ale, kiedy zapory runęły, kiedy matka — mimo że przedstawienie wypadło właśnie w dniu komisji, po której ojciec miał przyprowadzić na obiad pana de Norpois — powiedziała mi: „No cóż, nie chcemy cię dręczyć; skoro sądzisz, że ci to sprawi taką przyjemność, to już idź”; kiedy teatr, dotąd zabroniony, zależał tylko ode mnie, wówczas, po raz pierwszy, niepochlōnięty już tym, aby ów teatr przestał być niemożliwością, pytałem sam siebie, czy on jest upragniony, czy inne racje niż zakaz rodziców nie powinny by mi kazać się go wyrzec.

Po pierwsze, przez kontrast do nienawistnego okrucieństwa, zgoda rodziców zrodziła we mnie taką dla nich czułość, że myśl o ich przykrości sprawiała ból mnie samemu.

<sup>34</sup>daremniem śledził — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: daremnie śledziłem. [przypis edytorski]

Celem życia wydała mi się już nie prawda, ale czułość; wartość jego mierzyłem jedynie tym, czy rodzice będą szczęśliwi. „Wolałbym raczej nie iść, gdyby cię to miało zmartwić” rzekłem do matki, która, przeciwnie, starała się oddalić ode mnie tę myśl, iż mogłaby być z tego powodu smutna: ta myśl — powiadała — zepsułaby mi przyjemność, jakiej miałem kosztować na *Fedrze*, i dla której i ona sama, i ojciec cofnęli zakaz. Ale wówczas ów jak gdyby obowiązek doznania przyjemności wydał mi się bardzo ciężki. Przy tym, gdybym wrócił chory, czy wyzdrowieję dość szybko, aby móc iść na Pola Elizejskie po feriach, skoro tylko zaczniesz tam chodzić Gilberta?

Z wszystkimi tymi racjami zestawiałem — aby rozstrzygnąć, co ma przeważać — niewidzialną pod swymi zasłonami myśl o doskonałości Bermy. Na jedną szalę kładłem myśl, że mama jest smutna, ryzyko, że nie będę mógł iść na Pola Elizejskie, na drugą „jansenistyczną bladłość, mit słoneczny”; ale nawet te słowa mętniały w końcu w moim umyśle, nie mówiły mi już nic, traciły wszelki ciężar gatunkowy; stopniowo wahania moje stawały się tak bolesne, że gdybym się teraz zdecydował na teatr, to już tylko dlatego, aby je zakończyć i uwolnić się od nich raz na zawsze. Uczyniłbym to po to, aby skrócić swoje cierpienia, nie zaś w nadziei intelektualnej korzyści, ani pod urokiem doskonałości; dałbym się poprowadzić nie ku Mądrej Bogini, ale ku niewidzialnemu Bóstwu bez twarzy i nazwy, które zniemacka wstawiono pod zasłoną w jej miejsce.

Ale nagle wszystko się odmieniło; moje pragnienie ujrzenia Bermy otrzymało nową podniecie, która pozwoliła mi niecierpliwie i radośnie oczekiwać teatru. Wybrawszy się na swoją codzienną, a od niedawna tak okrutną stację słupnika pod kolumną z afiszami, ujrzałem mokry jeszcze szczegółowy afisz *Fedry*, który przylepiono po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, reszta obsady nie przyniosła nowego uroku, który by mógł mnie zdecydować. Ale widok ten dawał jednemu z celów, między którymi wahało się moje niezdecydowanie, kształt bardziej konkretny: data afisza oznaczała nie dzień, w którym go czytałem, ale ów, w którym miało się odbyć przedstawienie, godzinę podniesienia kurtyny; było to tak bliskie, tak realne, że podskoczyłem z radości przed słupem na myśl, że owego dnia, prawie o tej samej godzinie, siedząc na swoim miejscu, będę się gotował ujrzeć Bermę. I z obawy, że rodzice mogą już nie dostać dobrych miejsc dla babki i dla mnie, pobiegłem pędem do domu, smagany magicznymi słowami, które zastąpiły w mojej myśli *jansenistyczną bladłość* i *mit słoneczny*: „przed zajęciem miejsc w krzesłach, panie obowiązane są zdjąć kapelusze” i „punktualnie o godzinie drugiej, drzwi będą zamknięte”.

Niestety! ten pierwszy poranek stał się wielkim zawodem. Ojciec zaproponował, że udając się na komisję, odwiezie babkę i mnie do teatru. Wychodząc, rzekł do matki:

— Postaraj się, żeby był dobry obiad; pamiętasz, że mam przyprowadzić pana de Norpois?

Matka nie zapomniała. I od poprzedniego dnia Franciszka, szczęśliwa, że może się oddawać sztuce kuchennej, do której miała niewątpliwy talent, podniecona zresztą zapowiedzią nowego gościa, wiedząc, że będzie musiała przyrządzić wedle jej tylko wiadomej recepty sztukamię w auszpiku, żyła w gorączce tworzenia; że zaś przywiązywała ogromną wagę do jakości produktów mających wchodzić w skład jej dzieła, udała się sama do Hal, aby wybrać najpiękniejsze płyty rumsztyku, nogi wołowe, nóżki cielęce, niby Michał Anioł, spędzający osiem miesięcy w górach Karary, aby wybrać najdoskonalsze złomy marmuru na pomnik Juliusza II. W te wstępne przygotowania wkładała Franciszka tyle żaru, że mama, widząc jej rozplamioną twarz, obawiała się, aby stara służąca nie rozchorowała się z przemęczenia, jak twórca grobowca Medyceuszów w łomach Pietraganta. I już poprzedniego dnia Franciszka posłała szynkę, którą nazywała nefiorską, osłonioną miękiszem chleba niby różowy marmur, aby ją upiec u piekarza. Niewątpliwie za pierwszym razem, kiedy usłyszała o szynce *yorskiej*, Franciszka, uważając język za mniej bogaty i swoje własne uszy za nie dość pewne, nie uwierzyła w tę rozrzutność słownika i w to, aby mógł istnieć zarazem i York, i Nowy York; sądziła tedy, że się przesłyszała i że chodzi po prostu o słowo znane jej wprzód. Toteż od owego czasu, przed słowem *York* zjawiał się w jej uszach lub przed jej oczami — kiedy czytała anons — przydatek *New*, który wymawiała *Nef*. I z najlepszą wiarą mówiła do posługaczki:

— Idź, przynieś mi szynkę od Olidy. Pani mówiła koniecznie, żeby była nefiorska.

Tego dnia, o ile Franciszka oddychała płomienną pewnością twórców, moim udziałem był okrutny niepokój poszukiwaczy. Bez wątpienia, dopókim nie usłyszał Bermy, dozna-

wałem przyjemności. Doznawałem jej na skwerku przed teatrem, gdzie w dwie godziny później nagie kasztany miały się lśnić metalicznym blaskiem, gdy płomyki gazu oświetlą szczegółowo ich gałęzie; i w obliczu kontrolerów, których wybór, awans, los zależał od wielkiej artystki: ona sama dzierżyła władzę w zarządzie teatru, na którego czele przesuwali się kolejno znikom i czysto nominalni dyrektorowie. Kontrolerzy odebrali bilety, nie patrząc na nas, przejęci myślą, czy wszystkie zlecenia ich pani wiernie przekazano nowemu personelowi; czy dobrze zrozumiano, że klaka nigdy nie ma oklaskiwać jej samej; że okna mają być otwarte, póki jej nie ma na scenie, a najmniejsze drzwi zamknięte potem; że garnek z gorącą wodą ma stać ukryty w jej pobliżu, dla oczyszczenia powietrza z kurzu. I w istocie, za chwilę powóz Bermy, zaprzężony w dwa długogrzywe konie, zatrzyma się przed teatrem, ona wysiądzie zakutana w futra i, odpowiadając znudzonym gestem na ukłony, pośle którąś z pokojówek, aby się upewniła, czy zarezerwowano łożę dla przyjaciół, aby sprawdziła temperaturę sali, klasę publiczności, zachowanie się odźwiernych. Teatr i publiczność to był dla Bermy jedynie drugi, bardziej zewnętrzny kostium, w który wchodziła; atmosfera zaś sali była lepszym lub gorszym przewodnikiem jej talentu.

Byłem szczęśliwy również na samej widowni. Od czasu jak wiedziałem — na wspak temu, co sobie długo wyobrażały moje dziecięce urojenia — że jest tylko jedna scena dla wszystkich, myślałem, że przez głowy innych widzów musi być równie trudno widzieć, co kiedy się jest w tłumie; otóż, przekonałem się, iż przeciwnie, dzięki urządzeniu, które jest symbolem wszelkiej percepcji, każdy czuje się niby w centrum widowni. To mi wytłumaczyło, iż raz, kiedy posłano Franciszkę na jakiś melodramat na galerię, upewniała za powrotem, że miała miejsce najlepsze w całym teatrze, i nie tylko nie uważała, że siedzi za daleko, ale przeciwnie, czuła się zaniepokojona tajemniczą i żywą bliskością kurtyny.

Przyjemność moja wzrosła jeszcze, kiedy za spuszczoną kurtyną zacząłem rozróżniać mętne odgłosy, podobne tym, które się dają słyszeć w skorupie jajka, kiedy się ma wyląc pisklą. Niebawem hałasy wzmogły się i naraz z tego świata niedostępnego naszym oczom, ale widzącego nas, skierowały się niewątpliwie do nas w despotycznej formie trzech uderzeń, równie wzruszających co sygnały nadane z Marsa. I skoro się już podniosła ta kurtyna, kiedy biurko i kominiek, dosyć pospolite zresztą, oznajmiły nam, iż osoby, które zaraz wejdą na scenę, to będą nie deklamatorzy, tacy, jakich raz widziałem na wieczorze, ale ludzie przeżywający u siebie w domu jeden dzień swego życia, w które wdzieralem się przemocą, niewidziany przez nich — przyjemność moja trwała nadal. Przerwał ją krótki niepokój: właśnie kiedym nadstawiał uszu, zanim się zaczęła sztuka, weszło na scenę dwóch ludzi, widocznie rozgniewanych, skoro mówili tak głośno, że w tej sali, liczącej więcej niż tysiąc miejsc, można było rozróżnić ich słowa, gdy w małej kawiarence trzeba się pytać garsona, co mówią dwaj goście, którzy się pokłócili z sobą. Ale w tej samej chwili, zdumiony, że publiczność słucha ich bez protestu, zatopiona jednomyślną ciszą, z której to tu to tam zachlupotał śmiech, zrozumiałem, że ci kłótnicy to są aktorzy i że zaczęła się właśnie jednoaktówka, zwana *lever de rideau*.

Nastąpił po niej antrakt tak długi, że widzowie, wróciwszy na miejsca, niecierpliwiili się, tupali nogami. Przeraziło mnie to; tak samo bowiem, jak kiedy czytałem w sprawozdaniu z procesu, że jakiś szlachetny człowiek z własną szkodą złożył świadectwo na korzyść niewinnego, bałem się, iż nie będą dla tego świadka dość mili, że nie okażą mu dosyć wdzięczności, że go nie wynagrodzą dość hojnie i że, zmierzony tym, przejdzie na stronę niesprawiedliwości, tak samo, upodabniając w tym geniusz do cnoty, bałem się, że Berma, zrażona niesfornym zachowaniem się tak źle wychowanej publiczności — wśród której, przeciwnie, byłbym rad, aby mogła z satysfakcją rozpoznać kilka znakomitości, na których sędzie by jej zależało — wyrazi jej swoje niezadowolenie i wzgardę, grając lichy. I patrzyłem błagalnie na te tupiące bydlęta, zdolne w swojej wściekłości skruszyć wątłe i cenne wrażenie, po którym przyszedł.

Wreszcie, ostatnie chwile mojej przyjemności przypadły w czasie pierwszych scen *Fedry*. Sama Fedra nie pojawia się w owym początku drugiego aktu; jednakże, z chwilą gdy kurtyna się podniosła i gdy się rozsunała druga kurtyna z czerwonego aksamitu, przecinająca scenę we wszystkich sztukach, w których występowała gwiazda, weszła głębią aktorka o twarzy i głosie podobnych tym, jakie, wedle tego co mi mówiono, miała mieć Berma. Musiano widocznie zmienić obsadę; cała pilność, jaką włożyłem w studiowanie roli małżonki Tezeusza, poszła na marne! Ale jeszcze inna aktorka brała udział w dialogu.

Musiałem się pomylić, biorąc tamtą za Bermę, bo ta druga była do niej jeszcze podobniejsza; — co więcej, miała jej dykcję. Obie zresztą stroiły swoje role w szlachetne gesty — które dobrze rozróżniałem, pojmując ich związek z tekstem, gdy aktorki podnosiły swoje piękne fałdziste szaty — a także w bogate, to namiętne, to ironiczne intonacje, pozwalające mi zrozumieć sens wierszy, które czytałem w domu, nie dość zwracając uwagę na ich znaczenie. Ale naraz, między czerwonymi oponami sanktuarium, ukazała się, niby w ramie, inna kobieta i natychmiast odczułem lęk o wiele dotkliwszy, niż mógł być lęk Bermy o to, że jej nie w porę otworzą okno, że ktoś skazi dźwięk jej słów szeleszcząc programem, że publiczność urazi ją, oklaskując jej koleżanki lub nie dość oklaskując ją samą. Z tego wzruszenia, w którym od tej chwili — i jeszcze absolutniej niż dla samej Bermy — sala, publiczność, aktorzy, sztuka i moje własne ciało stały się dla mnie wyłącznie przewodnikiem akustycznym, mającym znaczenie jedynie w tej mierze, w jakiej jest on korzystny dla modulacji tego głosu, zrozumiałem, że dwie aktorki, podziwiane przeze mnie od kilku minut, nie mają żadnego podobieństwa z tą, którą przyszedłem oglądać.

Ale równocześnie cała moja przyjemność ustała; daremnie wyteżczałem ku Bermie oczy, uszy, myśl, aby nie uronić ani okruszyny z przyczyn, jakich dostarczała mojemu podziwowi; nie zdołałem pochwytać ani jednej. Nie mogłem nawet, jak u jej koleżanek, rozróżnić w jej dykcji i grze inteligentnych akcentów, pięknych gestów. Słuchałem tak, jakbym czytał *Fedre* lub jakby sama Fedra mówiła w tej chwili, bez żadnego naddatku płynącego z talentu Bermy. Aby móc zgłębić, aby próbować odkryć, w czym tkwi jej artyzm, byłbym pragnął zatrzymać, unieruchomić na długo każdą intonację artystki, każdy wyraz jej fizjonomii; starałem się bodaj, za pomocą umysłowego wysiłku, ustaliwszy i wycelowawszy przed każdym wierszem swoją uwagę, nie strwonić na przygotowania ani jednej cząstki trwania każdego słowa i gestu i dzięki nasileniu uwagi wnikać w nie tak głęboko, co gdybym miał na ten cel długie godziny. Ale jakże to trwanie było krótkie! Ledwie dźwięk jaki dostał się do mego ucha, już zastępował go inny. W scenie, gdy Berma trwa nieruchomo jakiś czas z ręką na wysokości twarzy, skąpiana dzięki grze reflektorów w zielonkawym świetle, na tle dekoracji przedstawiającej morze, sala buchnęła oklaskiem; ale już artystka zmieniła miejsce: obraz, który byłbym chciał studiować, przestał istnieć.

Powiedziałem babce, że nie widzę dobrze; dała mi lornetkę. Ale kiedy się wierzy w realność rzeczy, posługiwać się sztucznym środkiem, aby ich osiągnąć, nie jest tym samym, co czuć je blisko siebie. Miałem uczucie, że już nie Bermę widzę, ale jej obraz w powiększającym szkle. Odłożyłem lornetkę; ale może obraz, który przyjmowało moje oko, zmniejszony oddaleniem, nie był wierniejszy: która z dwóch Berm była prawdziwa? Co się tyczy jej oświadczeń Hipolitowi, bardzo liczyłem na ten ustęp, w którym, wnosząc ze znaczących akcentów, jakie koleżanki Bermy odkrywały mi co chwila w mniej pięknych miejscach, spodziewałem się u niej samej akcentów niezwyklejszych niż te, które czytając starałem się w domu wydobyć; ale nie dosięgła nawet tych, na które się zdobyły dotąd Enona lub Arycja; wszystko przeciągnęła strychulcem jednotonnej melopei, całą tyradę, w której mieszały się przeciwieństwa, tak przecież wyraźne, że bodaj trochę inteligentna tragiczka, nawet uczennica liceum, nie omieszkałaby ich wyzyskać. Zresztą Berma wygłosiła ten ustęp tak szybko, że dopiero kiedy doszła do ostatniego wiersza, umysł mój uświadomił sobie rozmyślną monotonię, jaką narzuciła pierwszym.

Wreszcie buchnęło moje pierwsze uczucie podziwu: wywołały je frenetyczne oklaski publiczności. Dołączyłem do nich swoje, starając się przedłużyć owacje, iżby Berma przez wdzięczność przeszła samą siebie, tak abym był pewny, że ją oglądałem w jednym z jej najlepszych dni. Ciekawe jest, że chwila, w której rozpętał się ten entuzjazm, była — dowiedziałem się o tym później — momentem, gdy Berma ma jeden ze swoich najpiękniejszych efektów. Zdaje się, że pewne wyższe realności wysyłają dokoła siebie promienie, na które tłum jest wrażliwy. Tak na przykład, kiedy się spełnia jakieś wydarzenie, kiedy na granicy armia jest w niebezpieczeństwie albo pobita, albo zwycięska, wówczas mętne wiadomości, niewiele dostarczające materiału wykształconemu człowiekowi, niecą w tłumie wzruszenie, które nas zdumiewa, a w którym, skoro raz eksperci uświadomią nam istotną sytuację wojenną, uznajemy wrażliwość tłumy na ową „aurę”, jaka otacza wielkie wypadki i może być widzialna na setki kilometrów. Człowiek dowiadyuje się o zwycięstwie albo po wszystkim, kiedy wojna jest skończona, albo natychmiast z radości odzwiernego. Odkrywa się genialny rys gry Bermy w tydzień po przedstawieniu

z krytyk albo natychmiast z oklasków widowni. Że jednak ta bezpośrednia świadomość tłumu miesza się z setką innych, całkowicie błędnych, brawa padały najczęściej fałszywie, nie licząc, że wzbudzała je już mechanicznie siła poprzednich braw, jak w czasie burzy raz rozhuśtane morze wzbiera dalej, nawet gdy wiatr się już nie wzmaga.

Ale mniejsza; w miarę jak klaskałem, zdawało mi się, że Berma lepiej gra. „Przynajmniej — mówiła obok mnie kobieta dosyć pospolita — ta się nie oszczędza; wali się w piersi, że aż dudni, biega po scenie; to, to rozumiem, to się nazywa grać”. I szczęśliwy, żem znalazł te racje wyższości Bermy, mimo moich podejrzeń, że one nie tłumaczą jej, jak nie tłumaczy *Giocondy* lub *Perseusza* Benvenuto wykrzykownik kmiotka: „To ci pięknie odrobione! całe ze szczerego złota, i co za praca!” — z upojeniem dzieliłem tanie wino tego ludowego entuzjazmu.

Czułem mimo to, po zapadnięciu kurtyny, rozczarowanie, że ta przyjemność, której tak bardzo pragnąłem, nie była większa; ale równocześnie czułem potrzebę przedłużenia jej, nie pożegnania na zawsze, wraz z opuszczeniem sali, tego życia teatru, które przez kilka godzin było moim życiem, z którego byłbym się wyrwał, niby na wygnanie, gdybym, wracając do domu, nie miał nadziei dowiedzenia się tam wiele o Bermie od jej wielbiciela, któremu zawdzięczałem, że mi pozwolono iść na *Fedre* — od pana de Norpois.

Ojciec przedstawił mnie ambasadorowi przed obiadem, wezwawszy mnie w tym celu do gabinetu. Kiedym wszedł, dyplomata wstał, podał mi rękę, pochylił wysoką postać i wlepił we mnie bacznie niebieskie oczy. Ponieważ przejezdni cudzoziemcy, których mu przedstawiano w epoce, gdy reprezentował Francję, byli mniej lub więcej — licząc w to głośnych śpiewaków — figurami wybitnymi, o których pan de Norpois wiedział, iż będzie mógł powiedzieć kiedyś — gdy kto wymieni ich nazwisko w Paryżu lub w Petersburgu — że sobie doskonale przypomina wieczór spędzony z nimi w Monachium lub w Sofii, ambasador przywykł podkreślać swoją uprzejmością radość z ich poznania; co więcej, przekonany, iż w życiu stolic, przez równoczesny kontakt z zajmującymi osobami, które przez nie przejeżdżają i ze zwyczajami ludu, który je zamieszkuje, nabywa się głębokiej i niepodobnej do uzyskania z książek znajomości historii, geografii, obyczajów rozmaitych narodów, ruchu umysłowego Europy, pan de Norpois ćwiczył na każdym nowo przybyłym swoją bystrość, aby od razu przejrzeć, z jakim gatunkiem człowieka ma do czynienia. Rząd nie powierzał już od dawna panu de Norpois placówek zagranicznych, ale z chwilą gdy eks-ambasadorowi przedstawiano kogoś, czy jego, tak jakby nie przyjęły do wiadomości jego „stanu spoczynku”, zaczynały owocnie obserwować, gdy on sam całą postawą starał się okazać, że nazwisko cudzoziemca nie jest mu obce. Toteż, mówiąc do mnie z dobrocią i z ważnością człowieka mającego świadomość swego rozległego doświadczenia, nie przestawał mnie badać z roztrępnym zaciekawieniem, dla własnej przyjemności, tak jakbym był jakimś egzotycznym zwyczajem, pouczającym zabytkiem lub gwiazdą na *tournée*. W ten sposób pan de Norpois dawał w stosunku do mnie zarazem dowód majestatycznej uprzejmości roztrępnego Mentora i pilnej ciekawości młodego Anacharsisa.

Nie ofiarował mi się absolutnie z niczym w przedmiocie „*Revue des Deux Mondes*”, ale zadał mi pewną ilość pytań co do mego życia i studiów, co do moich upodobań, o których pierwszy raz w mojej obecności mówiono jak o czymś godnym wzięcia pod uwagę, gdy dotąd sądziłem, iż obowiązkiem jest sprzeciwiać się im. Ponieważ wiodły mnie one ku literaturze, ambasador nie odwracał mnie od tego; przeciwnie, mówił o literaturze z szacunkiem, niby o czcigodnej i uroczej osobie z najlepszego towarzystwa, o której zachowało się z Dreżna lub z Rzymu wyborne wspomnienia i z którą, ku swemu ubolewaniu, wskutek warunków życia, człowiek spotyka się zbyt rzadko. Z frywolnym niemal uśmiechem ambasador zdawał mi się zazdrościć szczęśliwych chwil, które ja, szczęśliwszy od niego i swobodniejszy, będę mógł z nią spędzić. Ale same wyrażenia, którymi pan de Norpois się posługiwał, ukazywały mi Literaturę jako coś bardzo odmiennego od jej obrazu, jaki sobie stworzyłem w Combray; i zrozumiałem, żem miał podwójnie racje, wyrzekając się jej. Dotąd zdawałem sobie jedynie sprawę z tego, że nie mam daru pisania; obecnie pan de Norpois odbierał mi nawet ochotę do pisania. Chciałem się z nim podzielić swoimi rojeniami; drżąc ze wzruszenia, byłbym sobie wyrzucał, gdyby słowa moje nie były najszczerzym wyrazem tego, com odczuwał i czegom nigdy nie próbował sobie sformułować; tym samym słowa moje dalekie były od ścisłości. Może z zawodowego nawyku, może siłą spokoju, jakiego nabywa człowiek ważny, którego proszą o radę i który,

wiedząc, iż zachowa w ręku bieg rozmowy, pozwala interlokutorowi miotać się, wysilać, męczyć; może również, aby uwydatnić typ swojej głowy (wedle niego samego grecki, mimo wielkich bokobrodów), pan de Norpois, kiedy mu się coś tłumaczyło, zachowywał twarz równie nieruchomą, co gdyby się mówiło w gliptotece przed jakimś popiersiem antycznym — i głuchym. Naraz, spadając niby młotek taksatora lub wyrocznia delficka, głos ambasadora, rozlegający się w odpowiedzi, wzruszał cię tym bardziej, ile że nic na twarzy pana de Norpois nie zwiastowało wrażenia, jakie na nim wywarłeś, ani zdania, jakie miał wyrazić.

— Właśnie — rzekł do mnie nagle, tak jakby sprawa była osądzona, i pozwoliwszy mi bredzić pod swoim nieruchomym spojrzeniem, które nie opuszczało mnie ani na chwilę — właśnie znam syna jednego z przyjaciół, który, *mutatis mutandis*<sup>35</sup> jest w podobnym położeniu. — (Mówiąc o naszych wspólnych skłonnościach, pan de Norpois przybrał ten sam pocieszający ton, co gdyby to były skłonności nie do literatury lecz do reumatyzmu i gdyby mnie chciał upewnić, że się z tego nie umiera). — Toteż wołał opuścić Quai d'Orsay, gdzie, bądź jak bądź, miał już wytyczoną drogę przez swego ojca, i nie troszcząc się o ludzkie języki, zaczął pisać. To pewna, że nie miał powodu tego żałować. Ogłosił przed dwoma laty (jest zresztą o wiele starszy od pana, oczywiście) dzieło traktujące o poczuciu Nieskończoności na zachodnim brzegu jeziora Victoria Nyanza, a w tym roku dziełko mniej ważkie, ale skreślone piórem żwawym, niekiedy nawet ciętym, o karabinie repetierowym w armii bułgarskiej; które to dwie prace stworzyły mu sytuację zupełnie wyjątkową. Zrobił już ładny szmat drogi, a nie jest to człowiek, który by się zatrzymał w połowie, i wiem, że, nie biorąc co prawda w rachubę ewentualnej kandydatury, rzucono parę razy jego nazwisko, ot, w rozmowie, w Akademii Nauk Politycznych, i to w sposób zgoła niemający nic nieprzychylnego. W sumie, mimo iż nie można powiedzieć, aby już się znalazł na szczycie cokołu, zdobył sobie wstępnym bojem ładną pozycję. Sukces, który nie zawsze przypada jedynie niespokojnym i mętnym głowom, ryerczom idei często będącym po prostu ryerczami przemysłu, sukces, powiadam, uwieńczył jego trudy.

Ojciec, widząc mnie już za kilka lat członkiem Akademii, oddychał z zadowoleniem, a pan de Norpois spotęgował je jeszcze, kiedy po chwili wahania, podczas której zdawał się obliczać następstwa swego czynu, rzekł, podając mi swój bilet: „Niech pan do niego zajdzie, powołując się na mnie; będzie mógł panu udzielić cennych wskazówek”. Słowa te przyprawiły mnie o wstrząs równie gwałtowny, co gdyby mi oznajmiono, że mam się znaleźć nazajutrz jako majtek na pokładzie żaglowca.

Ciocia Leonia zrobiła mnie spadkobiercą nie tylko wielu przedmiotów i mebli bardzo kłopotliwych, ale i całego swego ruchomego majątku, zdradzając tym przywiązanie, którego nie domyślałem się za jej życia. Ojciec, mający zawiadywać tym majątkiem do mojej pełnoletności, poradził się pana de Norpois co do niektórych lokat. Pan de Norpois polecił papiery słabo procentujące, które uważał za szczególnie pewne, mianowicie konsolidy angielskie i czteroprocentową pożyczkę rosyjską. „Przy tych walorach, zupełnie pierwszorzędnych — rzekł pan de Norpois — jeżeli dochód nie jest zbyt wysoki, masz pan przynajmniej pewność, że nigdy nie uronisz kapitału”. Co się tyczy reszty, ojciec zwierzył się z grubsza z tym, co kupił. Pan de Norpois powinszował mu nieznanym uśmiechem: jak wszyscy kapitaliści, uważał majątek za rzecz godną zazdrości, ale wydawało mu się delikatniejsze komplementować jego posiadacza ledwie dostrzegalnym znakiem porozumienia; z drugiej strony, sam będąc kolosalnie bogaty, uważał za rzecz dobrego smaku okazywać uznanie dla czyichś znacznie mniejszych dochodów, radośnie i przyjemnie oceniając w duchu przewagę własnych. W zamian nie wahał się winszować ojcu „kompozycji” jego portfela „o smaku bardzo pewnym, bardzo delikatnym, bardzo finezyjnym”. Można by rzec, iż pan de Norpois przypisuje stosunkom papierów wartościowych między sobą lub nawet papierom wartościowym jako takim coś jakby wartość estetyczną. Kiedy mu ojciec wspomniał o pewnym dość nowym i mało znanym papierze, pan de Norpois, podobny ludziom znającym książkę, o której sądziliśmy, iż znamy ją tylko my jedni, rzekł: „Ależ tak, śledziłem jakiś czas ten papier dla rozrywki w cedułkach, bardzo zajmujący” — z retrospektywnym i uśmiechniętym zainteresowaniem abonenta, który czytał ostatnią powieść w miesięczniku, partiami, w odcinkach. „Nie

<sup>35</sup>*mutatis mutandis* (łac.) — z uwzględnieniem istniejących różnic. [przypis edytorski]

odradzałbym panu podpisania emisji, którą wypuszczą niebawem. Jest bardzo apetyczna, proponuje panu walory po kuszących cenach”. Mówiąc znowuż o pewnych dawnych papierach, ojciec, nie przypominając sobie dobrze nazw, łatwych do pomylenia z innymi pokrewnymi, otworzył szufladę i pokazał ambasadorowi oryginalne akcje. Widok ich zachwyił mnie; zdobiły je katedry i alegoryczne postacie, jak w starych romantycznych wydawnictwach, którym przeglądał niegdyś. Wszystko, co jest z jednej doby, podobne jest do siebie; ci sami artyści, którzy ilustrują poematy jakiejś epoki, pracują dla przedsiębiorstw finansowych. I nic tak nie przywodzi na pamięć zeszytów *Notre-Dame de Paris* i dzieł Gerarda de Nerval, widniejących na wystawie kupca korzennego w Combray, jak, w swojej prostokątnej i kwiecistej obwódce, wspieranej przez bóstwa rzeczne, nominalna akcja Towarzystwa Okrętowego.

Ojciec miał dla mojego rodzaju inteligencji wzdargę na tyle skorygowaną czułością, aby w sumie uczucie jego w stosunku do wszystkiego, co robiłem, wyrażało się ślepym pobożaniem. Toteż nie zawahał się wysłać mnie po mały poemacik prozą, niegdyś napisany w Combray za powrotem z przechadzki. Pisałem go w ekstazie, która — sadziłem — musi się udzielić czytającemu. Ale nie zdołała snadź<sup>36</sup> ogarnąć pana de Norpois, bo oddał mi rękopis bez słowa.

Matka, pełna szacunku dla zajęć ojca, przyszła zapytać nieśmiało, czy można podawać. Bała się przerwać rozmowę, w której nie uważano by może jej udziału za potrzebny. I w istocie, co chwila ojciec przypominał margrabiemu jakiś pożyteczny wniosek, który postanowili poprzeć na najbliższej komisji, a czynił to owym specjalnym tonem, jaki — podobni w tym dwóm uczniakom — mają w odmiennym środowisku dwaj koledzy, posiadający wspólne, a niedostępne innym wspomnienia zawodowe, i niemal zażenowani tym, że się im oddają w przytomności<sup>37</sup> obcych.

Ale idealna autonomia mięśni twarzy, do jakiej doszedł pan de Norpois, pozwalała mu słuchać, nie zdradzając, że słyszy. Ojciec zmieszał się w końcu. „Zamierzałem spytać o zdanie komisji...” — mówił do pana de Norpois po długich wstępach. Wówczas, z twarzy arystokratycznego wirtuoza, który zachował martwość muzyka, zanim przyjdzie moment jego partii, wychodziło równo i miarowo, tonem ostrym i jak gdyby kończącym — tym razem innym brzmieniem głosu — rozpoczęte zdanie: „...której z pewnością nie omieszka pan zwołać, tym snadniej, że jej członkowie znani są panu poszczególnie i mogą się zebrać bez trudu”. Samo w sobie zakończenie to nie miało zapewne nic niezwykłego. Ale nieruchomość, która je poprzedziła, odcinała je z krystaliczną przejrzystością — niemal filuternością fraz, jakimi w koncercie Mozarta, milczący dotąd fortepian odpowiada w danym momencie wiolonczeli.

— I cóż, kontent jesteś ze swojego teatru? — rzekł w chwili, gdyśmy przechodzili do jadalni, ojciec, aby mi dać sposobność zabyśnięcia i sądząc, że mój entuzjazm da o mnie dobre pojęcie panu de Norpois. — Był właśnie oglądać Bermę; przypomina pan sobie, żeśmy mówili o tym. — rzekł ojciec, obracając się do dyplomaty, tym samym tonem retrospektywnej, technicznej i tajemniczej aluzji, co gdyby chodziło o posiedzenie komisji.

— Musiał pan być zachwycony, zwłaszcza jeśli ją pan widział po raz pierwszy. Ojciec pański niepokoił się, jak ta mała eskapada odbije się na pańskim zdrowiu, bo pan jest, o ile wiem, nieco delikatny, nieco wątpliwy. Ale uspokoiłem pańskiego ojca. Teatry nie są dziś tym, czym były jeszcze przed dwudziestu laty. Mamy fotele mniej więcej wygodne, niezłą wentylację, mimo że wiele musielibyśmy jeszcze dokładać starań, aby dogonić Niemcy i Anglię, które pod tym względem, jak pod wieloma innymi, wyprzedziły nas kolosalnie. Nie widziałem pani Bermę w *Fedrze*, ale słyszałem, że ma być wspaniała. I był pan oczarowany, naturalnie?

Pan de Norpois, tysiąc razy wytrawniejszy ode mnie, musiał posiadać ową prawdę, której ja nie umiałem wycisnąć z gry Bermę, i odkryje mi ją z pewnością; w odpowiedzi na jego pytanie, miałem go prosić, aby mi powiedział, na czym polega ta prawda; tym samym usprawiedliwiłby moją uprzednią żądzą oglądania tej aktorki. Miałem tylko chwilę czasu, trzeba było skorzystać z niej i skierować wywiad na zasadnicze punkty. Ale które?

<sup>36</sup>snadź (daw.) — widocznie, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>w przytomności (daw.) — tu: w obecności. [przypis edytorski]



Skupiając całkowicie uwagę na swoich tak mętnych wrażeniach, nie siląc się bynajmniej olśnić pana de Norpois, lecz raczej uzyskać od niego upragnioną prawdę, nie starałem się zastąpić słów, których mi brakowało, gotowymi zwrotami; belkotałem coś i w końcu, aby tym skuteczniej wydobyć zeń, co w Bermie jest cudowne, wyznałem, że doznałem zawodu.

— Jak to — wykrzyknął ojciec, niekontent z ujemnego wrażenia, jakie wyznanie mojej niekompetencji może sprawić na panu de Norpois — jak możesz mówić, żeś nie czuł przyjemności! Babka opowiadała nam, żeś nie uronił ani słowa z roli Bermy, żeś wybałuszał na nią oczy, i że ty jeden zachowywałeś się tak w całej sali.

— Ależ tak, słuchałem, ile tylko mogłem, aby zbadać, co w niej jest tak nadzwyczajnego. Niewątpliwie, jest bardzo dobra...

— Jeżeli jest bardzo dobra, czegoż ci trzeba więcej?

— Jedną z rzeczy, które niewątpliwie przyczyniają się do sukcesu pani Berma — rzekł pan de Norpois, zwracając się dwornie do matki, aby jej nie zostawiać poza nawiasem i aby sumiennie dopełnić obowiązków grzeczności wobec gospodyni domu — jest doskonały smak, jaki wkłada w wybór swoich ról, co jej zawsze przynosi rzetelny i dobrze zasłużony sukces. Rzadko grywa w rzeczach miernych. Ot, i teraz zmierzyła się z rolą Fedry. Zresztą, ten sam smak wkłada w swoje tualety, w sposób gry. Mimo że odbywała częste i lukratywne tournée po Anglii i Ameryce, pospolitość, nie powiem Johna Bulla, co byłoby niesprawiedliwe, przynajmniej dla Anglii wiktoriańskiej, ale wujaszka Sama, nie przyłgnęła do niej. Nigdy zbyt jaskrawych barw, przesadnych krzyków. A przy tym ten cudowny głos, którym włada z takim kunsztem i którym posługuje się tak czarująco, byłbym niemal skłonny powiedzieć — muzycznie!

Moje zainteresowanie grą Bermy wzrastało nieustannie od czasu, jak przedstawienie się skończyło, bo nie podlegało już uciskowi i granicom rzeczywistości; ale czułem potrzebę znalezienia dla niego motywów; co więcej, podczas gdy Berma grała, kierowało się ono równie żarliwie na wszystko, co ona, siłą niepodzielności życia, dawała moim oczom, moim uszom; nie oddzielałem i nie wyróżniałem nic; toteż szczęśliwy byłem, że znajduję racjonalną przyczynę w pochwałach pana de Norpois oddanych prostocie, dobremu smakowi artystki. Zainteresowanie moje przyciągało te pochwały ku sobie całą siłą swej absorpcji, zagarniało je tak, jak optymizm pijanego zagarnia uczynki sąsiada, w których znajduje powód do rozczuleń. „To prawda — powiadałem sobie — co za piękny głos, co za brak wszelkiego krzyku, co za prostota stroju, co za inteligencja w wyborze Fedry! Nie, nie zawiodłem się”.

Zjawiała się zimna wołowina z marchewką, ułożona przez Michała Anioła naszej kuchni na ogromnych płatach auszpiku, podobnych przezroczystym blokom kryształu.

— Ma pani kuchmistrza zupełnie bezkonkurencyjnego — rzekł pan de Norpois. — A to nie jest rzecz błaha. Ja, który musiałem prowadzić zagranicą dom na pewnej stopie, wiem, jak jest czasem trudno znaleźć autentycznego wirtuoza patelni. Ależ to prawdziwa biesiada, to, czym nas pani dziś raczy.

W istocie, Franciszka, podniecona ambicją popisania się wobec niezwykłego gościa obiadem nareszcie najeżonym godnymi jej trudnościami, zadała sobie trud, jakiego nie zadawała już sobie dla nas; odnalazła swoje niezrównane sekrety z Combray.

— Oto czego nie można dostać w garkuchni (mam na myśli pierwszorzędne): zraz wołowiny, przy której auszpiku nie byłoby czuć klejem i gdzie mięso przesiąkło zapachem marchewki, to cudowne! Pozwoli mi pani powtórzyć — dodał, robiąc znak, że chce dobrać auszpiku. — Byłbym teraz ciekaw osądzić tego artystę przy daniu zupełnie odmiennym, ujrzeć go na przykład mierzącego się z *boeuf à la Stroganoff*!

Aby się również opodatkować na rzecz uroków obiadu, pan de Norpois poczęstował nas historyjkami, którymi raczył obficie swoich kolegów po fachu, to cytując jakiś pocieszny zwrot, użyty przez męża stanu uprawiającego długie zdania i mętne obrazy, to jakąś lapidarną formułę dyplomaty pełnego attycyzmu. Ale, prawdę mówiąc, kryterium, wedle którego pan de Norpois rozróżniał te dwa rodzaje powiedzeń, nie było w niczym podobne do tych, które stosowałem w literaturze. Wiele odcieni umykało mi się; powiedzenia, które pan de Norpois cytował, parszkając śmiechem, nie wydawały mi się zbyt różne od tych, które przytaczał jako niepospolite. Należał do typu ludzi, którzy na moje ulubione utwory powiedzieliby: „Zatem pan to rozumie? Co do mnie, przyznaję się, że nie rozumiem nic, nie należę do wtajemniczonych”; ale ja mógłbym mu odpłacić tym

samym; nie chwyciłem dowcipu lub głupoty, lapidarności lub pustki, które on znajdował w jakiejś replce czy przemówieniu. Brak wszelkiej uchwytnej racji, czemu jedno jest złe, a drugie dobre, sprawiał, że ten rodzaj literatury był dla mnie bardziej tajemniczy, ciemniejszy niż jakikolwiek inny. Pojmowałem jedynie, że powtarzać to, co wszyscy myślą, nie jest w polityce oznaką niższości, lecz wyższości. Kiedy pan de Norpois posługiwał się pewnymi wyświechtanymi po dziennikach zwrotami i wygłaszał je z siłą, czuć było, że przez to samo, iż on ich użył, nabierają one wagi czynu, i to czynu, który wywoła komentarze.

Matka liczyła bardzo na sałatę z ananasów i truflii. Ale ambasador, skierowawszy przez chwilę na tę potrawę bystre oko obserwatora, jadł spowity w dyplomatyczną dyskrecję i nie zdradził nam swojej myśli. Matka nalegała, aby dobrał, co też pan de Norpois uczynił, ale powiadając jedynie, w miejsce spodziewanego komplementu:

— Jestem posłuszny, pani, skoro widzę, że to jest prawdziwy „ukaz<sup>38</sup>” z jej strony.

— Czytaliśmy w „organach opinii”, że pan długo rozmawiał z królem Teodozjuszem — rzekł ojciec.

— W istocie, król, który ma rzadką pamięć fizjonomii, był tak łaskaw, widząc mnie w fotelach w teatrze, przypomnieć sobie, iż miałem zaszczyt widywać go przez szereg dni na dworze bawarskim, kiedy nie myślał o swoim wschodnim tronie (wiadomo panu, że go nań powołał kongres europejski i że król nawet bardzo się wahał z przyjęciem, uważając ten tron za niezupełnie odpowiadający jego rodowi, najszlachetniejszemu — biorąc heraldycznie — w całej Europie). Adiutant przyszedł mi oznajmić, abym pośpieszył przedłożyć swoje służby jego królewskiej mości, któremu to rozkazowi skwapliwie uczyniłem zadość.

— Czy był pan kontent z wyników pobytu króla?

— Zachwycony! Wolno było mieć niejaki obawy co do sposobu, w jaki tak młody jeszcze monarcha wywiąże się z trudnej sytuacji, zwłaszcza w tak delikatnej konfiguracji. Co do mnie, pokładałem pełne zaufanie w politycznym zmyśle młodego suwerena. Ale wyznaję, że przeszedł moje oczekiwania. Toast, który wygłosił w Elizeum i który, wedle informacji z miarodajnego źródła, jest od pierwszego do ostatniego słowa jego dziełem, był w pełnej mierze godny zainteresowania, jakie wszędzie obudził. To było po prostu mistrzowskie posunięcie; nieco śmiałe, przynajmniej chętnie, ale ostatecznie wypadki w pełni usprawiedliwiły tę śmiałość. Dyplomatyczne tradycje mają swoje zalety, ale w tym wypadku stworzyły one w końcu między jego a naszym krajem atmosferę duszną, w której niepodobna było oddychać. Otóż, jednym ze sposobów odświeżenia powietrza (oczywiście sposobem, którego nie można zalecać, ale na który król Teodozjusz mógł sobie pozwolić), jest stłuc szyby. I zrobił to z humorem, który oczarował wszystkich, i z celnością słowa, nieomylnie zdradzającą ową kulturalną rasę dynastii, do której król Teodozjusz należy przez matkę. To pewna, że kiedy mówił o „powinowactwach”, łączących jego kraj z Francją, wyrażenie to, choć mało używane w słowniku dyplomatycznym, okazało się niezwykle szczęśliwe. Widzi pan, że literatura nie przeszkadza, nawet w dyplomacji, nawet na tronie — dodał pan de Norpois, zwracając się do mnie. — Sama rzecz, przynajmniej to, była skonstatowana od dawna i stosunki między dwoma mocarstwami stały się doskonałe. Ale trzeba było to powiedzieć. Oczekiwano tego słowa; wybrane było cudownie i widzieliście państwo, jaki znalazło oddźwięk. Co się mnie tyczy, oklaskiwałem je ze wszystkich sił.

— Przyjacieli pański, pan de Vaugoubert, który przygotowywał od lat to zbliżenie, musiał być rad.

— Tym więcej, że jego królewska mość, dość świadom tych okoliczności, pragnął mu zrobić niespodziankę. Niespodzianka ta była zresztą zupełna dla wszystkich, począwszy od ministra spraw zagranicznych, któremu (wedle tego, co mi powiadano) nie przypadła ona do smaku. Komuś, kto go o to zagadnął, minister odpowiedział wręcz, dość głośno, aby sąsiednie osoby mogły słyszeć: „Ani się mnie nie radzono, ani mnie nie uprzedzono”, wskazując jasno, że się uchyla od wszelkiej odpowiedzialności w tej mierze. Trzeba przyznać, że incydent narobił ładnego hałasu, i nie śmiałybym twierdzić — dodał pan de Norpois ze złośliwym uśmiechem — czy ci z moich kolegów, dla których najwyższym

<sup>38</sup>ukaz (z ros.) — rozporządzenie. [przypis edytorski]

prawem zdaje się być prawo najmniejszego wysiłku, nie uczyli się zakłóceni w swojej inercji. Co się tyczy Vaugouberta, czy pan wie, że on był bardzo atakowany za swoją politykę zbliżenia z Francją i musiał cierpieć nad tym, ile że to jest człowiek bardzo wrażliwy, najtkliwsze serce. Mogę o tym zaświadczyć lepiej niż ktokolwiek, bo mimo że jest ode mnie młodszy, i to znacznie, stykałem się z nim często, jesteśmy starymi przyjaciółmi, znam go dobrze. Zresztą, któż by go nie znał? To kryształ. To nawet jedyna wada, jakiej by się w nim można dopatrzeć; bo nie jest konieczne, aby serce dyplomaty było aż tak przezroczyste. To nie przeszkadza, że mówią o wysłaniu go do Rzymu, co stanowi nie tylko piękny awans, ale i ciężki orzech do zgryzienia. Mówiąc między nami, sądzę, że Vaugoubert, mimo iż tak wyzuty z ambicji, byłby z tego bardzo rad i nie żąda wcale, aby od niego oddalono ten kielich. Dokaże tam może cudów; jest kandydatem Consulty; co do mnie, widzę go bardzo dobrze, z jego artystyczną naturą, w ramie pałacu Farnese i galerii Carraccia. Zdawałoby się, że przynajmniej nikt nie powinien go nienawidzić; ale jest koło króla Teodozjusza cała kamaryła mniej lub więcej zaprzędana w lenno Wilhelmstrasse, strzegąca posłusznie płynących stamtąd inspiracji, starająca się na wszelkie sposoby szyc naszemu przyjacielowi buty. Vaugoubert miał przeciwko sobie nie tylko intrygi kularowe, ale zniewagi najemnych pismaków, którzy później, nikczemni jak każdy płatny skryba, wywiesili białą chorągiew, wprzód nie wahając się wytaczać przeciw naszemu przedstawicielowi bezmyślnych oskarżeń, godnych ludzi z rynsztoka. W ciągu wielu miesięcy wrogowie Vaugouberta tańczyli dookoła niego taniec skalpu — rzekł pan de Norpois, akcentując z siłą to ostatnie słowo. — Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże; Vaugoubert odtrącił te obelgi kopnięciem nogi — dodał ambasador jeszcze energiczniej i ze spojrzaniem tak srogim, że na chwilę przestaliśmy jeść. — Jak powiada piękne przysłowie arabskie: „Psy szczekają, karawana idzie dalej”...

Wyrzuciwszy ten cytat, pan de Norpois zatrzymał się, aby spojrzeć na nas i ocenić wrażenie. Wrażenie było wielkie; znaliśmy to przysłowie. Zastąpiło ono tego roku u ludzi miarodajnych owo drugie: „Kto sieje wiatr, zbiera burzę”, które potrzebowało nieco wypocząć, nie mając tak niestrudzonej żywotności jak to: „Pracować dla króla Prus”. Bo kultura owych znamienitych ludzi była gospodarką płodozmienną, przeważnie trójpolową. Zapewne, cytaty tego rodzaju, którymi pan de Norpois umiał jak nikt okraszać swoje enuncjacje w „Revue des Deux Mondes”, nie były nieodzowną rękojmą solidności i dobrej informacji tych artykułów. Nawet bez tej okraszy wystarczyło, aby pan de Norpois napisał we właściwym momencie (czego nie zaniedbał nigdy): „Gabinet Saint-James nie ostatni zrozumiał niebezpieczeństwo” albo: „Poruszenie było wielkie na Pont-aux-Chartrés, gdzie niespokojnym okiem śledzono samolubną, ale zręczną politykę dwugłowej monarchii”, albo „Krzyk na alarm rozległ się z Montecitorio”, lub wreszcie: „Owa wiekusta podwójna gra, najzupełniej w stylu Ballplatz”. Po tych wyrażeniach profan poznawał natychmiast zawodowego dyplomata i oddawał mu pokłon. Ale opinię człowieka będącego czymś więcej niż dyplomata, człowieka o wyższej kulturze, stworzyło panu de Norpois umiejętne posługiwanie się cytatami, których idealnym wzorem był wówczas taki aforyzm: „Róbcie dobrą politykę, a ja wam będę robił dobre finanse, jak zwykł był mawiać baron Louis”. (Jeszcze nie sprowadzono ze Wschodu tego: „Zwycięstwo przypada temu z przeciwników, który umie cierpieć kwadrans dłużej, jak powiadają Japończycy”.) Ta reputacja człowieka wielkiej kultury, połączona z prawdziwym geniuszem intrygi, ukrytym pod maską obojętności, wprowadziła pana de Norpois do Akademii Nauk Politycznych. I pewne osoby myślały nawet, że nie byłby nie na miejscu w Akademii Francuskiej, w dniu, kiedy, chcąc wskazać, iż, zacieśniając sojusz z Rosją, zdołamy dojść do porozumienia z Anglią, pan de Norpois nie zawahał się napisać: „Niechaj to dobrze wiedzą na Quai d’Orsay, niech tego odtąd uczą we wszystkich podręcznikach geografii, bardzo pod tym względem zacofanych, niech palą bezlitośnie przy maturze każdego kandydata, który nie będzie umiał powiedzieć: »O ile wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, w zamian za to droga, wiodąca z Paryża do Londynu, idzie nieodzownie przez Petersburg«”.

— *Summa summarum* — ciągnął pan de Norpois, zwracając się do mego ojca — Vaugoubert uszczknął sobie w tej okoliczności ładny sukces, przechodzący nawet jego uzasadnione nadzieje. Spodziewał się w istocie toastu poprawnego (co, zważywszy chmury tych ostatnich lat, byłoby już bardzo piękne), ale nic więcej. Wiele osób upewniało mnie, że niepodobna, czytając ten toast, zdać sobie sprawę z wrażenia, jakie sprawił, wy-

głoszony i znakomicie wypunktowany przez króla, który jest mistrzem wypowiedzenia i który mówiąc, podkreślał wszystkie intencje, wszystkie finezje. Opowiadano mi przy tej sposobności fakt dosyć pikantny, który jeszcze jeden raz więcej uwydatnia w królu Teodozjuszu ów młodzieńczy wdzięk, jednający mu wszystkie serca. Upewniano mnie, że właśnie przy tym słowie „powinowactwa”, które było w rezultacie olbrzymim nowatorstwem i które będzie jeszcze długo (zobaczy pan) przedmiotem dyplomatycznych komentarzy, jego królewska mość, przewidując radość naszego ambasadora, który miał w tym znaleźć zasłużone uwienczenie swoich wysiłków, można powiedzieć swoich marzeń, swoją, aby rzec wszystko, buławę marszałkowską, obrócił się w stronę Vaugouberta i wlepiając w niego owo tak ujmujące spojrzenie Oettingenów, podkreślił to tak dobrze wybrane słowo „powinowactwa”, słowo stanowiące prawdziwą rewelację, tonem, który powiadał wszystkim, że użyto tego słowa bardzo świadomie i z pełną odpowiedzialnością. Zdaje się, że Vaugoubert ledwie mógł pohamować wzruszenie i do pewnego stopnia przyznając, że go rozumiem. Osoba ze wszech miar wiarygodna powiedziała mi w zaufaniu, że król zbliżył się do Vaugouberta po obiedzie, kiedy jego królewska mość odbywał *cercle*, i jakoby miał mu powiedzieć półgłosem: „Czy jesteś rad ze swego ucznia, drogi margrabio?”.

— To pewna — zakonkludował pan de Norpois — że podobny toast zdziałał więcej niż dwadzieścia lat rokowań dla zbliżenia dwóch krajów, ich „powinowactw”, wedle malowniczego wyrażenia Teodozjusza II. To jest, mógłby ktoś powiedzieć, tylko słowo, ale widzi pan, jaką karierę zrobiło, jak cała europejska prasa powtarza je, jakie zainteresowanie budzi, jaki nowy dźwięk wydało. Jest zresztą bardzo w stylu tego monarchy. Nie posunę się tak daleko, aby twierdzić, że on co dnia znajduje diamenty tak czystej wody. Ale rzadkie jest, aby w swoich mowach obmyślanych, a jeszcze bardziej w improwizacji swobodnej rozmowy, nie wykazał się jakimś brawurowym powiedzeniem, omal nie rzekłem: nie położył pod nim swojego podpisu. Tym mniej można mnie podejrzewać o stronniczość, ile że jestem wrogiem wszelkich tego rodzaju innowacji. Dziewięć razy na dziesięć są one niebezpieczne.

— Tak, myślałem sobie, że świeży telegram cesarza Niemiec nie musiał być w pańskim guście — rzekł ojciec.

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba, jakby mówił: „Och! ten...”.

— Po pierwsze — rzekł — to jest akt niewdzięczności. To więcej niż zbrodnia: to błąd i głupota, którą nazwałbym piramidalną! Zresztą, jeżeli nikt tu nie powie: „hola!”, człowiek, który wypędził Bismarcka, bardzo jest zdolny odtrącić stopniowo całą politykę bismarkowską, a wówczas to jest skok w nieznaną.

— Mąż mówił mi, panie ambasadorze, że pan go może porwie gdzieś na wybrzeża Hiszpanii; bardzo jestem szczęśliwa za niego.

— Ależ tak, to uroczy projekt, na który serdecznie się cieszę. Bardzo bym rad odbyć z panem tę podróż, drogi kolego. A łaskawa pani czy już myślała, jak spędzić wakacje?

— Pojadę może z synem do Balbec, nie wiem jeszcze.

— O, Balbec jest miłe, bawiłem tam przelotnie przed paru laty. Zaczynają tam budować wille bardzo eleganckie; sądzę, że okolica spodoba się pani. Ale wolno mi spytać, co skierowało pani wybór na Balbec?

— Syn ma wielką ochotę zobaczyć niektóre tamtejsze kościoły, zwłaszcza kościół w samym Balbec. Bałam się trochę dla niego niewygód podróży, a zwłaszcza pobytu. Ale dowiedziałam się, że zbudowano tam wyborny hotel, co mu pozwoli spędzić czas w warunkach pewnego komfortu, jakich wymaga jego zdrowie.

— A! muszę się podzielić tą informacją z pewną osobą, która nie puści jej pewnie mimo uszu.

— Kościół w Balbec jest cudowny, proszę pana? — spytałem, przewyciężając smutek, jakim przejęła mnie wiadomość, że jednym z uroków Balbec są eleganckie wille.

— Nie; niebrzydki jest, ale ostatecznie nie może wytrzymać porównania z istic jubilerską robotą takiej katedry w Reims, w Chartres i (na mój smak) perły wśród wszystkich, Sainte-Chapelle w Paryżu.

— Ale kościół w Balbec jest po części romański?

— W istocie, jest w stylu romańskim, który już sam przez się jest raczej zimny i niczym nie zapowiada wykwintu i fantazji architektów gotyckich, umięjących wystrzygać

kamień jak koronkę. Kościół w Balbec wart jest zwiedzenia, o ile ktoś bawi w tamtych stronach; jest dosyć ciekawy; jeżeli któregoś dżdżystego dnia nie będzie pan miał nic do roboty, może pan tam zajść, zobaczy pan grobowiec Tourville'a.

— Czy pan był wczoraj na bankiecie Spraw Zagranicznych? Ja nie mogłem iść — spytał ojciec.

— Nie — odparł pan de Norpois z uśmiechem — wyznaję, że poniechałem go dla wieczoru o dość odmiennym charakterze. Byłem na obiedzie u kobiety, o której pan może słyszał: u pięknej pani Swann.

Matka powstrzymała wzdrygnięcie się, wrażliwość jej bowiem, bardziej chyża, niepokoiła się za ojca o wszystko, co jego miało osiągnąć aż w chwilę potem. Przykrości, które go spotykały, odczuwała wprzód, niby owe złe nowiny z Francji wcześniej znane za granicą niż u nas. Ale ciekawa, jakiego rodzaju osoby Swannowie mogą przyjmować, spytała pana de Norpois, kogo tam spotkał.

— Mój Boże, to jest dom, gdzie bywają zwłaszcza... panowie. Było tam kilku mężczyzn żonatych, ale żony ich były tego wieczora cierpiące i nie przyszły — odparł z dobroduszną finezją ambasador, rzucając dokoła spojrzenia, których spokój i dyskrecja niby to łagodziły, a w gruncie podkreślały złośliwość.

— Muszę dodać — rzekł — aby być zupełnie sprawiedliwym, że bywają tam i kobiety, ale... należące... jakby to powiedzieć, raczej do świata republikańskiego niż do świata Swanna — (ambasador wymawiał: *Suann*). — Kto wie? to będzie może kiedyś salon polityczny albo literacki. Zresztą zdaje się, że oni są zadowoleni. Uważam, że Swann nawet to zbyt okazuje. Wymieniał ludzi, do których oboje z żoną zaproszeni są w przyszłym tygodniu, a z których zażyłości nie ma powodu się chlubić; i czynił to z brakiem miary, smaku, niemal taktu, który mnie zdziwił u człowieka tak subtelnego. Powtarzał: „Nie mamy ani jednego wieczoru wolnego”, jakby to była chluba, i jak prawdziwy parweniusz, którym przecież nie jest. Bo Swann miał wielu przyjaciół, nawet przyjaciółek, i nie posuwając się za daleko, ani pragnąc popełniać niedyskrecję, mogę powiedzieć, że nie wszystkie, ani większość z nich, ale co najmniej jedna, bardzo wielka dama, nie byłaby może całkowicie oporna ewentualności nawiązania stosunków z panią Swann, w którym to wypadku niejedna z owiec Panurga poszłaby za nią. Ale zdaje się, że nie było ze strony Swanna ani nawet próby usiłowań w tym kierunku. Jak to! jeszcze pudding *à la Nesselrode*! To grozi Karlsbadem, jako ekspiacją za taką ucztę Lukullusa! Może Swann uczuł, że trzeba by zwalczyć za wiele trudności. Małżeństwo jego, to fakt, nie zyskało uznania. Mówiono o majątku żony, co jest oczywiście brednia. Ale w sumie, wszystko to nie wydało się przyjemne. A potem Swann ma ciotkę, nadzwyczaj bogatą i znakomicie ustosunkowaną, żonę człowieka, który, biorąc finansowo, jest potęgą. I nie tylko ta ciotka odmówiła przyjmowania pani Swann, ale podjęła formalną kampanię, aby jej przyjaciółki i znajome zrobiły toż samo. Nie chcę przez to powiedzieć, aby którykolwiek prawdziwy paryżanin uchybił kiedy pani Swann... Nie! po sto razy nie! Zresztą, mąż jest człowiekiem, który by podjął rzuconą rękawiczkę. W każdym razie ciekawym zjawiskiem jest, jak dalece Swann, który ma tyle stosunków i to najwyborniejszych, zabiega o towarzystwo, o którym najmniej, co można by powiedzieć, to, że jest bardzo mieszane. Ja, który znałem go niegdyś, wyznaję, że z równym zdziwieniem jak zabawą patrzę na człowieka tak dobrze wychowanego, tak dobrze widzianego w koteriach najbardziej przesianych przez sito, który dziękuje gorąco szefowi gabinetu ministra poczty za to, że przyszedł do nich, i pyta go, czy pani Swann *wolno będzie* odwiedzić jego żonę! Musi przecież czuć się tam obco: jasna rzecz, że to nie jest ten sam świat. Nie zdaje mi się jednak, aby Swann był nieszczęśliwy. Były, to prawda, w latach poprzedzających jego małżeństwo, próby dość brzydkiego szantażu ze strony jego żony; pozbawiała Swanna widoku córki, ilekroć jej czegoś odmawiała. Biedny Swann, równie naiwny, jak jest skądinąd rafinowany, uważał za każdym razem zniknięcie córki za przypadek, nie chciał widzieć rzeczywistości. Pani Odeta robiła mu przy tym sceny tak ustawiczne, że zdawało się, iż w dniu, gdy osiągnie wreszcie swój cel i doprowadzi Swanna do małżeństwa, nie będzie już miała żadnego hamulca i życie ich stanie się piekłem. I ot! stało się zupełnie przeciwnie. Ludzie żartują sobie ze sposobu, w jaki Swann mówi o żonie, ostrzą sobie języki na nim. Nie spodziewano się, rzecz prosta, aby Swann, nawet mniej lub więcej świadomy, że jest... (znacie państwo termin Moliera), proklamował to *urbi et orbi*; co nie przeszkadza, że wydaje

się przesadą, kiedy ten mąż głosi, iż jego połowica jest wyborną żoną. Otóż to nie jest tak dalekie od prawdy, jak by ktoś mógł mniemać. Na swój sposób (nie jest to sposób, jakiego by sobie życzyli wszyscy mężowie, ale ostatecznie, mówiąc między nami, wydaje mi się trudne, aby Swann, który znał Odetę od dawna i który wcale nie jest dudkiem, nie wiedział, co ma o tym sądzić), na swój zatem sposób, nie ulega wątpliwości, że ona jest do niego przywiązana. Nie mówię, aby nie miała swoich awanturek, i Swann też ich sobie nie odmawia, o ile wierzyć zacnym językom, które (możecie państwo zgadnąć) nie próżnują. Ale ona mu jest wdzięczna za to, co dla niej zrobił i, na wspaniałym obawom całego świata, zdaje się, że się stała istotą anielskiej słodyczy.

Zmiana ta nie była równie niezwykła, jak mniemał pan de Norpois. Odeta nie przypuszczała, że się z nią Swann w końcu ożeni; za każdym razem, kiedy mu oznajmiała dyplomatycznie, że jakiś dystyngowany człowiek zaślubił swoją kochankę, widziała, że Swann zachowuje lodowate milczenie. Co najwyżej, kiedy go zagadnęła wprost, mówiąc: „Więc ty nie uważasz, że to bardzo dobrze, bardzo pięknie, to co on zrobił dla kobiety, która mu poświęciła młodość?” — Swann odpowiadał sucho: „Ależ ja wcale nie mówię, że to jest źle; każdy robi, co uważa za właściwe”. Odeta nie była nawet daleka od przypuszczenia, że, jak jej to Swann powtarzał w momentach gniewu, porzuci ją zupełnie. Słyszała bowiem niedawno, jak pewna rzeźbiarka mówiła: „Można się wszystkiego spodziewać po mężczyznach, to takie chamy”, i Odeta, uderzona głębią tej pesymistycznej maksymy, przyswoiła ją sobie, powtarzała ją przy każdej sposobności z miną zrezygnowaną, która zdawała się mówić: „Ostatecznie, nie ma w tym nic niemożliwego, takie moje szczęście”. Tym samym straciła dla Odety wszelką wartość optymistyczna maksymy, przyświecająca jej dotąd: „Wszystko można zrobić z mężczyzną który kocha, to tacy idioci!”. Myśl ta wyrażała się na jej twarzy przymrużeniem oczu, które mogłoby towarzyszyć wyrazom np. takim: „Nie bójcie się, nic nie potłucze”.

Na razie Odeta cierpiała, myśląc, co jakaś przyjaciółka, zostawszy żoną człowieka, który żył z nią krócej niż ona ze Swannem i który nie miał z nią dziecka, obecnie (o tyle, o ile) poważana, zapraszana na bale do prezydenta Republiki, musi myśleć o postępowaniu Swanna. Diagnosta głębszy od pana de Norpois poznałby z pewnością, że właśnie to poczucie upokorzenia i wstydu skwasilo Odetę; że ten piekielny charakter nie był jej wrodzony, że nie był złem bez ratunku. Ten diagnosta przepowiedziałby z łatwością to, co się stało; mianowicie, że nowy ustrój, ustrój matrymonialny, z magiczną niemal szybkością położy koniec owym zjawiskom przykrym, codziennym, ale zgoła nie organicznym.

Prawie wszyscy dziwili się temu małżeństwu, i to jest właśnie zadziwiające. Bez wątpienia, mało kto rozumie na wskroś subiektywny charakter zjawiska, jakim jest miłość, stwarzająca jak gdyby nową osobę, różną od tej, która w świecie nosi to samo nazwisko. Większość składników tej nowej osoby czerpiemy z siebie samych. Toteż mało komu mogą się wydać naturalne olbrzymie proporcje, jakie przybiera w końcu dla nas istota niebędąca tą samą, którą widzą oni. Mimo to, co się tyczy Odety, można było sobie zdać sprawę z tego, że o ile — rzecz prosta — nigdy nie pojęła całkowicie inteligencji Swanna, znała bodaj tytuły i szczegóły jego prac, tak że nazwisko *Ver Meer* było jej tak poufale jak nazwisko własnego krawca; znała w Swannie do gruntu owe cechy charakteru, których reszta świata nie zna albo je ośmiesza, a których podobny i kochany obraz posiada jedynie kochanka lub siostra; my zaś tak jesteśmy przywiązani do owych cech, nawet do tych, z których najbardziej chcielibyśmy się poprawić! Przez to, że kobieta przyzwyczaja się do nich w końcu, odnosząc się do nich w sposób pobłażliwy i przyjacielsko drwiący, podobny do sposobu, w jaki my traktujemy samych siebie i w jaki traktują nas rodzice, takie dawne stosunki mają coś ze słodyczy i z siły przywiązań rodzinnych. Więzy łączące nas z jakąś istotą, uświęca to, że owa istota, sądząc nasze przywary, staje na tym samym punkcie, co my sami. Pomiędzy swoistymi rysami Swanna, niektóre wynikały tyleż z jego inteligencji, co z charakteru, i te właśnie, dlatego że mimo wszystko tkwiły w charakterze, Odeta zrozumiała łatwiej. Skarżyła się, że kiedy Swann występuje jako pisarz, kiedy ogłasza swoje studia, nie odnajduje się tych rysów, jak w jego listach lub w rozmowie, gdzie ich było pełno. Radziła mu, aby im dał więcej miejsca. Pragnęłaby tego, bo to były rysy, które w nim lubiła; ale, ponieważ je lubiła dlatego, że były bardziej jego własne, może miała rację, pragnąc, aby się wyrażały w tym, co on pisze. Może też sądziła, że

utwory bardziej żywe, dając wreszcie Swannowi sukces, pozwolą jej stworzyć sobie to, co nauczyła się u Verdurinów cenić ponad wszystko: salon.

Pomiędzy ludźmi, którym takie małżeństwo wydawało się śmieszne, ludźmi, którzy, myśląc o samych sobie, zapytywali się: „Co pomyśli pan de Guermites, co powie Bréauté, kiedy zaślubię pannę de Montmorency?” — pomiędzy ludźmi mającymi ten typ socjalnego ideału, byłby się dwadzieścia lat wprzód znalazł sam Swann; Swann, który zadał sobie tyle trudów, aby wejść do Jockey Clubu, i który liczył w owym czasie na świetne małżeństwo, zdolne, umacniając jego sytuację, uczynić go jedną z najbardziej znanych osobistości paryskich. Ale obrazy, jakie oczom zainteresowanego nastręcza takie małżeństwo, aby nie zmarnieć i nie zatrzeć się, potrzebują jak wszystkie obrazy — podniety z zewnątrz. Najwyższym waszym pragnieniem jest upokorzyć człowieka, który was znieważył. Ale jeżeli, osiadłszy w innym kraju, nie będziecie już nigdy słyszeli o nim, wróg ten przestanie mieć w końcu dla was wszelkie znaczenie. Jeżeli w ciągu dwudziestu lat straciło się z oczu wszystkie osoby, z powodu których chciałoby się być członkiem Jockey Clubu lub Instytutu, perspektywa dostania się do jednego z tych ugrupowań zupełnie przestanie być kusząca. Otóż, tak samo jak przejście w stan spoczynku, jak choroba, nawrócenie, tak samo długi stosunek z kobietą zastępuje dawne obrazy nowymi. Kiedy Swann zaślubił Odetę, nie było to z jego strony wyrzeczeniem się światowych ambicji, bo od dawna Odeta — w duchowym znaczeniu słowa — oderwała go od tych ambicji. Zresztą, gdyby nawet tak się nie stało, Swann miałby tylko większą zasługę. Takie hańbiące małżeństwa, dlatego właśnie, że dla słodczy czysto poufnych każą nam rezygnować z mniej lub więcej pochlebnej sytuacji życiowej, są najgodniejsze szacunku. (Nie można za małżeństwo hańbiące uważać małżeństwa dla pieniędzy, bo nie było przykładu związku, w którym żona albo mąż się sprzedali, aby w końcu świat nie zaczął przyjmować ich, choćby z tradycji i na wiarę tylu przykładów, i aby nie mieć dwóch wag i dwóch miar).

Może skądinąd, przez zmysł artysty, jeżeli nie przez rozpustę duchową, Swann byłby w każdym wypadku znajdował pewną rozkosz w tym, aby się sparzyć — w jednym z krzyżowań uprawianych przez *mendelistów* lub znanych z mitologii — z istotą odmiennej rasy, arcyksiężniczką lub kokotą; wejść w parantele królewskie lub popełnić megalians. Była w świecie jedna jedyna osoba, o której myślał za każdym razem, gdy rozważał możliwość związku z Odetą; była to — i nie przez snobizm — księżna Oriana de Guermites. Przeciwnie, Odeta dbała o księżnę bardzo mało, myśląc jedynie o ludziach położonych bezpośrednio wyżej, nie zaś żyjących w tak mglistym empireum. Ale kiedy Swann w godzinach dumań widział Odetę jako swoją żonę, nieodmiennie wyobrażał sobie chwilę, gdy ją zaprowadzi — ją, a zwłaszcza swoją córkę — do księżnej des Laumes, która niebawem, wskutek śmierci teścia, stała się diuszessą de Guermites. Nie pragnął ich wprowadzić gdzie indziej, ale rozczulał się, kiedy sobie roił (dobierając nawet słów) wszystko, co księżna powie o nim Odecie, a Odeta pani de Guermites; czułość, jaką księżna okaże Gilbertcie, rozpieszczając ją, czyniąc go dumnym ze swojej córki. Odgrywał sam przed sobą scenę prezentacji z tą samą ścisłością urojonych szczegółów, jaką mają ludzie rozważający, jak by w razie wygranej zużyli sumę, której wysokość oznaczają do woli.

W tej mierze, w jakiej obraz towarzyszący naszemu postanowieniu motywuje je, można powiedzieć, że, jeżeli Swann ożenił się z Odetą, to dlatego, aby ją i Gilbertę przedstawić księżnej de Guermites — choćby przy tym nikogo miało nie być, choćby nawet nikt nigdy nie miał się dowiedzieć o tym. Ujrzymy, iż ta jedyna światowa ambicja, jaką żywił dla żony i córki, była właśnie tą, której ziszczenia mu odmówiono, i to tak absolutnie, że Swann umarł, nie przypuszczając, aby księżna Oriana miała kiedykolwiek poznać jego panie. Ujrzymy też, iż przeciwnie, pani de Guermites zbliżyła się z Odetą i Gilbertą po śmierci Swanna. I może Swann okazałby rozsądek — w przypuszczeniu, że mógłby przykładać wagę do tak błahej rzeczy — nie widząc przyszłości zbyt czarno w tej mierze i wierząc, iż upragnione spotkanie może nastąpić wówczas, gdy on już nie będzie się nim mógł cieszyć. Działanie przyczynowości, wydające w końcu mniej więcej wszystkie możliwe następstwa, tym samym i te, które byśmy uważali za najmniej możliwe, działanie to jest czasem powolne — powolniejsze nieco wskutek naszych pragnień, które, starając się je przyspieszyć, hamują je przez fakt samego naszego istnienia — i ziszcza je dopiero wówczas, kiedy przestaliśmy pragnąć, a niekiedy i żyć. Czyż Swann nie wiedział tego

z doświadczenia i czy — niby przedsmak tego, co się miało zdarzyć po jego śmierci — nie było już w jego życiu szczęściem pośmiertnym małżeństwo z ową Odetą, którą dawniej tak namiętnie kochał — mimo że mu się nie podobała z pierwszego wejrzenia — a którą zaślubił wówczas, gdy jej już nie kochał, kiedy umarła już istota tak rozpaczliwie w Swannie pragnąca przeżyć całe życie z Odetą?

Zacząłem mówić o hrabi Paryża, pytając, czy to prawda, że jest przyjacielem Swanna, tak bardzo obawiałem się, aby rozmowa nie odbiegła od jego osoby.

— Owszem, w istocie — odparł pan de Norpois, zwracając się do mnie i wlepiając w moją skromną osobę błękitne spojrzenie, w którym pływały, niby w swoim osoczu, jego wielka zdadność do pracy i zdolność przystosowania się. — Och, Boże — dodał, zwracając się na nowo do ojca — nie sądzę, abym przekraczał granice szacunku, jaki żywię dla krwi monarszej (mimo iż nie utrzymuję z jego wysokością stosunków osobistych, które utrudniłyby moją sytuację, choćby tak mało oficjalną), cytując panu pewien fakt dość pikantny. Otóż, nie dawniej niż przed czterema laty, na stacyjce kolei żelaznej w jednym z krajów centralnej Europy, jego królewska wysokość miał sposobność ujrzeć panią Swann. Z pewnością nikt z bliskich nie pozwolił sobie pytać jego wysokości, jak mu się wydała. To by nie było przystojne. Ale, ilekroć jakiś traf konwersacji przywodził nazwisko tej osoby, wówczas, po pewnych oznakach (niedostrzegalnych, powiedzmy, ale nieomylnych) jego wysokość zdawał się dość chętnie dawać do zrozumienia, że w sumie wrażenie zgoła nie było niekorzystne.

— Ale czy nie było możliwości przedstawienia jej hrabiemu Paryża? — spytał ojciec.

— Ba! nie wiadomo, z tymi królewietami nigdy nie można wiedzieć — odparł pan de Norpois — najdumniejszy z nich, ci, co najbardziej umieją żądać tego, co się im należy, często najmniej się troszczą o sądy opinii, nawet najsluszniejsze, z chwilą gdy chodzi o to, aby wynagrodzić pewne przywiązanie. Otóż faktem jest, że hrabia Paryża zawsze bardzo łaskawie przyjmował oddanie Swanna, który jest poza tym człowiekiem ze wszech miar inteligentnym.

— A jakie było pańskie wrażenie, panie ambasadorze? — spytała matka przez grzeczność i z ciekawości.

Z energią starego znawcy, odbijającą od zwykłego umiaru w jego sposobie mówienia, pan de Norpois odparł:

— Jak najdotatniejse<sup>39</sup>!

I wiedząc, że przyznanie się do silnego wrażenia sprawionego przez kobietę stanowi — byle go dopełnić na wesoło — bardzo cenioną formę wdzięku rozmowy, pan de Norpois parsknął lekkim śmiechem, który przeciągnął się przez kilka chwil, wilżąc błękitne oczy starego dyplomaty i wstrząsając skrzydła jego nosa, pocętkowane czerwonymi żyłkami.

— Jest zupełnie czarująca!

— Czy autor nazwiskiem Bergotte był na tym obiedzie, proszę pana? — spytałem nieśmiało, aby zatrzymać rozmowę przy temacie Swannów.

— Owszem, Bergotte był również — odparł pan de Norpois, skłaniając dwornie głowę w moją stronę, jak gdyby, chcąc się okazać uprzejmym dla ojca, przykładał wysoką wagę do wszystkiego, co się z nim łączy, nawet do pytań chłopca w moim wieku, nieprzyzwyczajonego do takiej grzeczności ze strony poważnych osób. — Czy pan go zna? — dodał, wlepiając we mnie owo jasne spojrzenie, którego przenikliwość podziwiał Bismarck.

— Nie zna, ale bardzo podziwia — rzekła matka.

— Mój Boże — rzekł pan de Norpois (co zrodziło we mnie, w przedmiocie własnej inteligencji, obawy poważniejsze niż te, które mną szarpały zazwyczaj, skorom ujrzał, iż to, co ja stawiałem tysiąc tysięcy razy powyżej siebie, com uważał za najwyższe w świecie, znajduje się dla pana de Norpois na najniższym szczeblu drabiny jego podziwu) — nie podzielam tego zapatrywania. Bergotte jest tym, co nazywam wirtuozem na flecie; trzeba zresztą przyznać, że gra przyjemnie, mimo iż z dużą dawką maniery, afektacji. Ale ostatecznie, to jest tylko tyle, i to jest niedużo. W jego dziełach pozbawionych muskułów nigdy nie znajdzie się tego, co można by nazwać kośćcem. Żadnej akcji (albo bardzo mało), ale zwłaszcza żadnego ciężaru gatunkowego. Jego książki grzeszą u podstaw lub

<sup>39</sup>najdotatniejse — dziś popr.: najbardziej dodatni. [przypis edytorski]



raczej nie mają żadnej podstawy. W epoce takiej jak nasza, gdy rosnąca złożoność życia ledwie zostawia czas na czytanie, gdy mapa Europy doznała głębokich przeobrażeń i jest w przededniu głębszych może jeszcze, gdy tyle nowych i groźnych zagadnień nastrocza się ze wszystkich stron, przyzna pan, że mamy prawo żądać od pisarza, aby był czymś więcej niż pięknoduchem, dającym nam zapomnieć, w czczych i bizantyńskich dyskusjach nad walorami czystej formy, że nas może z dnia na dzień zalać podwójna fala barbarzyńców, z zewnątrz i od wewnątrz. Wiem, że to znaczy bluźnić przeciw Przenajświętszej Doktrynie tego, co ci panowie nazywają Sztuką dla Sztuki; ale w naszej epoce są zadania pilniejsze niż harmonijne składanie słów. Pan Bergotte robi to dość zgrabnie, nie przeczę; ale w sumie, jest to bardzo mdłe, bardzo wątłe, bardzo niemieckie. Rozumiem teraz lepiej, w związku z pańskim przesadnym podziwem dla pana Bergotte, tych parę stroniczek, które mi pan pokazał przed chwilą. Byłoby zresztą niewłaściwe z mojej strony nie puścić ich w niepamięć, skoro mi pan sam z całą prostotą powiedział, że to są dziecinne próby — (powiedziałem tak w istocie, ale nie myślałem tego ani trochę). — Wszelki grzech winien być odpuszczony, zwłaszcza grzech młodości. Ostatecznie, nie pan jeden masz podobne rzeczy na sumieniu i nie jesteś pan jedyny, który się w pewnych latach uważał za poetę. Ale w tym, co mi pan pokazał, widać zły wpływ Bergotte'a. Oczywiście, nie zdziwię pana, kiedy powiem, że nie ma w pańskiej próbie żadnej z jego zalet, skoro on doszedł do mistrzostwa w sztuce (zupełnie powierzchownej zresztą) pewnego stylu, którego pan, w swoim wieku, nie możesz posiadać nawet pierwszych elementów. Ale to już ta sama wada, ta maniera w szeregowaniu słów bardzo dźwięcznych, z bardzo niewielką troską o ich sens. To znaczy dbać o klatkę bardziej niż o ptaszka; nawet w książkach Bergotte'a. Wszystkie te chińszczyzny formy, wszystkie te subtelnosci spróchniałego mandaryna wydają mi się bardzo czcze. Ot, parę fajerwerków, przyjemnie puszczone przez pisarza i zaraz krzyczy się: arcydzieło! Arcydzieła nie zjawiają się tak często! Bergotte nie ma w swoich aktywach, w swoim dorobku, jeżeli można tak powiedzieć, powieści wyższego lotu, nie ma ani jednej z tych książek, które się umieszcza na honorowym miejscu w swojej bibliotece. Nie widzę nic takiego w całej jego produkcji. Co nie przeszkadza, że gdy o niego chodzi, dzieło jest nieskończenie wyższe od autora. A! oto chodzący argument na poparcie aforyzmu, że nie powinno się nigdy poznawać autorów inaczej niż przez ich książki. Trudno o człowieka, który by się mniej pokrywał ze swoimi utworami; bardziej pretensjonalnego, nadętego, mniej *człowieka z towarzystwa*. Chwilami zupełnie pospolity, to znów rozprawia jak książka, i to nawet nie jak własna książka, ale jak książka nudna (a jego książki nie są przynajmniej nudne): oto pański Bergotte. To mózg najbardziej mętny, zmanierowany, to co nasi ojcowie nazywali „górnogłębski”; a to, co mówi, staje się jeszcze mniej smaczne przez sposób wypowiedzenia. Nie pamiętam, czy to Loménie, czy Sainte-Beuve opowiada, że Vigny miał tę samą przykrą wadę. Ale Bergotte nie napisał nigdy *Cinq-Marsa*, ani *Czerwonej pieczęci*, gdzie niektóre stroniczki godne są zaiste antologii.

Zmiażdżony tym, co pan de Norpois orzekł o mojej własnej próbie, myśląc z drugiej strony o trudnościach, jakich doznawałem, kiedy chciałem napisać jakiś esej lub bodaj oddać się poważnym rozmyśleniom, czułem jeden raz więcej swoją intelektualną nicotę, brak danych do uprawiania literatury. Bez wątplenia niegdyś w Combray, pewne wrażenia bardzo skromne — lub lektura Bergotte'a — wprawiały mnie w zadumę, która mi się zdawała bardzo cenna. Ale ten stan odbijał się w moim poemaciku prozą; nie ma wątpliwości, że pan de Norpois natychmiast pochwycił i podkreślił w nim to, co mnie się wydawało piękne jedynie mocą zwodnego mirażu, skoro ambasador nie dał mu się omać. Dowiódł mi, przeciwnie, jak skromne zajmuję miejsce, kiedy mnie sędzi z zewnątrz, obiektywnie, najlepiej usposobiony i najinteligentniejszy znawca. Czułem się przybity, stropiony; i duch mój, niby płyn mający jedynie wymiary użyzonego mu naczynia, jak niegdyś rozszerzył się do olbrzymiej pojemności geniuszu, tak obecnie, skurczony, mieścił się cały w ciasnej mierności, w jakiej go pan de Norpois nagle zamknął i ograniczył.

— Nasze poznanie się z Bergottem — dodał, obracając się do ojca — było cokolwiek drażliwe, aby nie powiedzieć drastyczne. Kilka lat temu Bergotte wybrał się do Wiednia, gdy ja tam byłem ambasadorem; przedstawiła mi go księżna Metternich, złożył mi bilet i pragnął uzyskać zaproszenie. Otóż, będąc zagranicą przedstawicielem Francji, której ostatecznie pan Bergotte w pewnej mierze (powiedzmy, dla ścisłości, w bardzo nikłej

mierze) przynosi zaszczyt, byłbym przeszedł do porządku nad smutną opinią, jaką mam o jego życiu prywatnym. Ale nie podróżował sam, i co więcej, miał pretensje być zaproszonym nie bez swojej towarzyszki. Nie sądzę, abym był zbyt świętoszkiem; będąc zaś kawalerem, mogłem zapewne otworzyć drzwi ambasady nieco szerzej niż gdybym był żonatym i ojcem rodziny. Mimo to, wyznaję, że jest stopień bezwstydu, z którym nie umiałbym się pogodzić, a który jest jeszcze wstrętniejszy przez ten ultra-moralny, powiedzmy, wręcz moralizatorski ton, jaki Bergotte przybiera w swoich książkach, gdzie powtarzają się ustawiczne i, między nami mówiąc, nudnawe analizy bolesnych skręplów, chorobliwych wyrzutów sumienia, i to z powodu zwykłych grzeszków, istne kazania wielkopostne (wiadomo po czemu łokieć), wówczas gdy on sam zdradza tyle nieodpowiedzialności i cynizmu w życiu prywatnym. Krótko mówiąc, uchyliłem się od odpowiedzi, księżna jeszcze raz przypuściła atak, ale z nie lepszym skutkiem. Tak, iż nie sądzę, abym był bardzo dobrze notowany u tego pana, i nie wiem, w jakiej mierze ocenił on uprzejmość Swanna, który go zaprosił wraz ze mną. O ile nie sam Bergotte prosił go o to. Nie można wiedzieć, bo w gruncie to chory człowiek. To nawet jego jedyne usprawiedliwienie.

— Czy córka pani Swann była na tym obiedzie? — spytałem pana de Norpois, korystając z chwili, gdy (przechodziliśmy właśnie do salonu) mogłem ukryć wzruszenie łatwiej, niż kiedyś siedział przy stole nieruchomo i w pełnym świetle.

Pan de Norpois starał się sobie przypomnieć przez chwilę:

— Tak, młoda osoba czternasto- czy piętnastoletnia? W istocie, przypominam sobie, że mi ją przedstawiono przed obiadem jako córkę naszego amfitriona. Przyznam się panu, że mało ją widziałem, poszła spać wcześniej. Albo poszła gdzieś do przyjaciółki, nie przypominam już sobie. Ale widzę, że pan jest dobrze obznajmiony z domem państwa Swann.

— Bawię się z panną Swann na Polach Elizejskich, jest przemiła.

— A! A! Ależ tak, w istocie wydała mi się urocza. Mimo to przyznam się panu, iż nie sądzę, aby dorównała kiedy matce, jeżeli mi wolno to powiedzieć bez urażenia pańskich nazbyt żywych uczuć.

— Wolę urodę panny Swann, ale podziwiam też niezmiernie jej matkę; chodzę na spacer do Lasku jedynie w nadziei ujżenia jej.

— Ależ muszę im to powiedzieć, pochlebi to im niezmiernie.

Wymawiając te słowa, pan de Norpois był na kilka sekund jeszcze w położeniu wszystkich osób, które, słysząc mnie mówiącego o Swannie jako o człowieku inteligentnym, o jego ojcu jako o szanownym finansjście, o jego domu jako o pięknym domu, mogą myśleć, że ja mówiłbym równie chętnie o innym człowieku równie inteligentnym, o innych finansistach równie szanownych i o innym domu równie pięknym; to jest chwila, w której człowiek zdrowy na umyśle, a rozmawiający z wariatem nie spostrzegł jeszcze, że to wariat. Pan de Norpois wiedział, że zupełnie naturalną rzeczą jest przyjemność oglądania pięknych kobiet; że grzecznie jest, kiedy ktoś mówi z zapalem o jednej z tych kobiet, udawać, że się wierzy, iż ten ktoś jest w niej zakochany, żartować z niego i ofiarowywać mu się z pomocą. Ale mówiąc, że wspomni o mnie Gilbertcie i jej matce (co by mi pozwoliło, na kształt olimpijskiego bóstwa przybierającego płynność wietrzyka lub raczej wygląd starca, od którego zapożycza rysów Minerwa, wnikać samemu, niewidzialnie, do salonu pani Swann, ściągnąć na siebie jej uwagę, zaprzętnąć jej myśl, zyskać jej wdzięczność swoim podziwem, objawić się jej jako przyjaciel znacznej osobistości, godny zbliżenia i zażyłości z rodziną Swannów), ten ważny człowiek, przyrzekający wyzyskać na moją korzyść urok, jaki musiał mieć w oczach pani Swann, obudził we mnie czułość tak wielką, że ledwie mogłem się wstrzymać, aby nie ucałować jego miękkich, białych i pomarszczonych rąk, wyglądających tak, jakby za długo leżały w wodzie. Niemal uczyniłem ten gest, który (tak mi się zdawało) ja jeden zauważyłem. Trudno jest w istocie człowiekowi samemu ściśle obliczyć, w jakiej skali słowa jego lub ruchy objawiają się komuś drugiemu; z obawy przecenienia przed sobą własnej doniosłości, powiększając do ogromnych rozmiarów pole, na które muszą się rozciągać wspomnienia innych ludzi w ciągu ich życia, wyobrażamy sobie, że nieważne szczegóły naszej mowy i naszych gestów ledwie przenikają do świadomości osób, z którymi rozmawiamy, a tym bardziej nie pozostają w ich pamięci. Tego rodzaju złudzeniu ulegają również zbrodniarze, kiedy przekształcają po niewczasie jakieś słowo, którego użyli, w mniemaniu, że się nie uda skonfrontować tego wariantu z żadną inną

wersją. Ale bardzo możliwe jest, że nawet w perspektywie tysiącletniego życia ludzkiego, filozofia felietonisty, wedle której wszystko skazane jest na zapomnienie, mniej jest prawdziwa niż wręcz przeciwna filozofia, która by przepowiadała trwanie wszystkiego. W tym samym dzienniku, w którym felietonowy moralista, mówiąc o jakimś wydarzeniu, arcydziele — tym bardziej o śpiewacze, mającej swoją „godzinę sławy” — wykrzykuje: „Kto będzie o tym pamiętał za dziesięć lat?”, czyż na innej stronnicy sprawozdanie z Académie des Inscriptions<sup>40</sup> nie mówi często o fakcie mniej ważnym, o lichym poemacie, który sięga epoki faraonów, a który dziś jeszcze znamy w całości? Nie zupełnie może tak samo jest w krótkim życiu ludzkim. Mimo to, w kilka lat później, w domu, gdzie pan de Norpois, będący tam z wizytą, zdawał mi się najpewniejszym oparciem, jako przyjaciel ojca, pobłażliwy, życzliwy dla naszej rodziny, nawykły zresztą z zawodu i z urodzenia do dyskrecji, po wyjściu ambasadora powtórzono mi jego aluzję do jakiegoś dawnego wieczoru, w czasie którego „czuł, że za chwilę ucałuję mu ręce”. Nie tylko zacerwieniłem się po uszy, ale zdumiałem się, że sposób, w jaki pan de Norpois mówi o mnie, a także charakter jego wspomnień są tak odmienne od tego, com mógł przypuszczać. Plotka ta odkryła mi nieoczekiwane proporcje roztargnienia i przytomności umysłu, pamięci i zapomnienia, z jakich składa się umysł ludzki; i uczulem się równie zdumiony, co w dniu, kiedy pierwszy raz przeczytał w książce pana Maspero, że znana jest dokładnie liczba myśliwych, których Assurbanipal zapraszał na swoje polowania, na dziesięć wieków przed Chrystusem.

— Och, proszę pana — rzekłem, kiedy mi pan de Norpois oznajmił, iż zakomunikuje Gilbertcie i jej matce moją admirację — gdyby pan to uczynił, gdyby pan wspomniął o mnie pani Swann, całe życie nie starczyłoby, aby panu okazać moją wdzięczność; życie moje należałoby do pana! Ale muszę zwrócić pańską uwagę, że ja nie znam pani Swann i że nigdy jej nie byłem przedstawiony.

Dodałem to przez skrupuł, aby nie wyglądać na człowieka chwającego się stosunkami z ludźmi, których nie zna. Ale wymawiając te słowa, czulem już, że są zbyteczne; od początku mego podziękowania, wygłoszonego z ostudzającym żarem, ujrzałem na twarzy ambasadora wyraz wahania i niechęci, a w jego oczach owo spojrzenie prostopadłe, wąskie i skośne (niby, w perspektywicznym rysunku bryły, oddalająca się linia jednej z powierzchni); spojrzenie, zwracające się do owego niewidzialnego partnera, jakiego mamy w samych sobie w chwili, gdy mu mówimy coś, czego interlokutor, osobnik, z którym rozmawiało się dotąd — w danym wypadku ja — nie powinien słyszeć. Zdałem sobie natychmiast sprawę, że słowa moje — słabe jeszcze w stosunku do fali wdzięczności, jaka mnie zalewała, słowa, które powinny były (wedle mnie) wzruszyć pana de Norpois i tym bardziej skłonić go do interwencji dla niego tak łatwej, a dla mnie tak błogosławionej, były to może właśnie (wśród wszystkich słów, jakie mógłby znaleźć diabolicznie ktoś chcący mi zaszkodzić) jedyne zdolne powściągnąć go od tego kroku. Wyobraźmy sobie, że z jakimś nieznanym wymieniliśmy przyjemne i zgodne (naszym mniemaniu) wrażenia na temat przechodniów, których pospolitość zauważyliśmy obaj; i naraz objawi się nam dzieląca nas patologiczna przepaść, gdy ów nieznanomy, macając się po kieszeni, doda niedbale: „Żałuję, że nie mam rewolweru; ani jeden nie zostałby żywy”. Tak samo pan de Norpois, który wiedział, że nic nie było prostsze i łatwiejsze niż poznać panią Swann i dostać się do jej domu, widząc, iż, przeciwnie, dla mnie przedstawia to taką cenę i tym samym z pewnością wielką trudność, pomyślał, iż owo normalne na pozór i wyrażone przeze mnie pragnienie, musi skrywać jakąś inną myśl, jakiś podejrzany cel, jakiś dawniejszy błąd, z powodu którego, w obawie niezadowolenia pani Swann, nikt dotąd nie chciał się podjąć w moim imieniu tej misji. I zrozumiałem, że pan de Norpois nie uczyni tego nigdy; i że mógłby widywać panią Swann co dzień przez całe lata, a nie wspominałby o mnie ani razu.

Poprosił ją jednak w kilka dni potem o jakieś wyjaśnienie, którego pragnąłem, i przekazał mi je przez ojca. Ale nie uważał za potrzebne powiedzieć pani Swann, dla kogo o nie prosi. Nie dowie się tedy, że ja znam pana de Norpois i że tak pragnąłbym bywać u niej! Ale to nieszczęście było może mniejsze, niż sądziłem. Bo druga z tych wiadomości niewie-

<sup>40</sup>Académie des Inscriptions — pełna nazwa: Académie des Inscriptions et Belles-Lettres francuskie towarzystwo naukowe (jedno z pięciu składających się na Instytut Francuski), założone w 1663 i zajmujące się naukami humanistycznymi. [przypis edytorski]

le byłaby zapewne przydała skuteczności, wątpliwej zresztą, pierwszej. Ponieważ w Odecie myśl o jej własnym życiu i domu nie budziła żadnych tajemniczych wzruszeń, człowiek, który ją znał, który u niej bywał, nie wydawał się jej istotą bajeczną, jak wydawał się mnie, który byłbym cisnął w okna Swannów kamień, gdybym mógł na nim napisać, że znam pana de Norpois; byłem przekonany, że taka informacja, nawet przekazana w ten brutalny sposób, o wiele więcej dałaby mi w oczach pani domu uroku niż wywołała oburzenia. Ale nawet gdybym sobie mógł zdać sprawę, że misja, z której nie wywiązał się pan de Norpois, zostałaby daremna, i że, co więcej, mogłaby mi zaszkodzić wobec Swannów, i tak nie miałbym siły — w razie, gdyby ambasador okazał się chętny — zwolnić go z niej i wyrzec się tej rozkoszy, choćby najopłakańszej w skutkach, że moje nazwisko i osoba znalazłyby się na chwilę w pobliżu Gilberty, w jej nieznanym domu i życiu.

Kiedy pan de Norpois odszedł, ojciec zaczął przeglądać wieczorny dziennik; ja myślałem znów o Bermie. Przyjemność, jakiej doznałem, słuchając Bermy, domagała się skompletowania, tym bardziej, że o wiele nie dorównała rozkoszy, jaką sobie obiecywałem; toteż czepiała się wszystkiego, co było zdolne ją podsyć, jak na przykład owe wartości, które pan de Norpois przyznał Bermie i które dusza moja — niby zbyt suchy trawnik, gdy się go zleje wodą — wypila jednym haustem. Otóż, ojciec podał mi dziennik, pokazując notatkę skreśloną w tych słowach:

„Przedstawienie *Fedry*, odegranej wobec rozentuzjasmowanej sali, w której zauważono znakomitości sztuki i krytyki, było dla pani Berma, odtwórczyni roli *Fedry*, jednym z najświetniejszych tryumfów jej zawrotnej kariery artystycznej. Niebawem omówimy obszerniej ten występ, będący prawdziwym ewenementem teatralnym; na razie stwierdzimy tylko, że najbardziej autorytatywni sędziowie oświadczyli zgodnie, iż kreacja pani Berma całkowicie odnawia rolę *Fedry*, jedną z najpiękniejszych i najgłębszych w teatrze Racine’a, stanowiąc najwyższe i najczystsze objawienie sztuki, jakiego naszej epoce dane było być świadkiem”.

Z chwilą gdy mój umysł przyswoił sobie wiadomość o „najczystszej i najwyższym objawieniu sztuki”, idea ta zbliżyła się do niedoskonałej przyjemności, jakiej doznałem w teatrze, dodała jej trochę tego, co jej brakowało, a połączenie ich stworzyło coś tak podniecającego, że wykrzyknąłem: „Cóż za wielka artystka!”.

Z pewnością może ktoś uznać, że nie byłem całkowicie szczery. Ale pomyślcie raczej o tylu pisarzach, którzy, niezadowoleni ze świeżo napisanego ustępu, przeczytawszy pochwałę geniuszu Chateaubrianda lub wspomniawszy jakiegoś wielkiego artystę, któremu pragnęli dorównać, nucąc na przykład w duchu frazę Beethovena, której smętek porównują z tym, jaki chcieli tchnąć w swój styl, wzruszają się ową ideą geniuszu tak bardzo, że darzą nią swój własny utwór, myśląc o nim na nowo; nie widzą go już takim, jak się im wydał zrazu, i ryzykując akt wiary w wartość własnego dzieła, powiadają sobie: „To nie jest złe!”. Nie zdają sobie sprawy, że w owo podsumowanie, dające im końcowe zadowolenie, wciągnęli echo wspaniałych stronic Chateaubrianda, które stapiają z własnymi, ale których bądź co bądź nie napisali. Przypomnijcie sobie tylu ludzi, wierzących w miłość kochanki, od której doznali samych zdrad; i wszystkich, którzy spodziewają się na przemian to niepojętego drugiego życia, z chwilą gdy jako niepokieszeni mężowie myślą o kobiecie, którą stracili i którą kochają jeszcze, lub jako artyści o przyszłej sławie, którą będą się mogli cieszyć; to znów marzą o kojącej nicości, kiedy przeciwnie świadomość ich ogarnie błędy, które inaczej przyszloby im odpokutować po śmierci; pomyślcie wreszcie o turystach, zachwyconych całością podróży, której każdy dzień przynosił im tylko nudę; i powiedzcie, czy we wspólnym życiu, jakie wiodą idee w łonie naszego ducha, istnieje bodaj jedna z tych, co nam dają najwięcej szczęścia, która by nie pasożytowała na obcej i sąsiedniej myśli, czerpiąc z niej najlepsze cząstki brakującej siły?

Matka nie była zbyt rada, że ojciec przestał myśleć dla mnie o karierze dyplomatycznej. Sądzę, iż dbając przede wszystkim o to, aby uregulowane życie ujęło w karby kaprysy moich nerwów, żałowała nie tyle tego, że się wyrzekam dyplomacji, ile że się poświęcam literaturze.

— Dajże pokój — wykrzyknął ojciec — przede wszystkim trzeba mieć zamiłowanie do tego, co się robi. Przecie to już nie dziecko. Wie, co lubi, mało prawdopodobne jest, aby się zmienił; zdolny jest sobie zdać sprawę z tego, co mu da szczęście.

Czas, Przemijanie,  
Młodość, Starość

Szczęście lub nieszczęście, będące wynikiem swobody, jaką mi przyznawały słowa ojca, były rzeczą dalszą; na razie, tego wieczora, słowa ojca sprawiły mi przykrość. Tęgo rodzaju objawy jego nieoczekiwanej dobroci zawsze budziły we mnie taką chęć ucałowania, ponad bujnym zarostem, jego rumianych policzków, że jeżeli nie ulegałem tej chęci, to jedynie z obawy niezadowolenia ojca. Dziś, tak jak autor przeraża się, widząc, że jego rojenia (które zdają mu się bez wartości, bo ich nie oddziela od samego siebie) zmuszają wydawcę do wybrania papieru, do użycia czcionek może za pięknych na ten cel, pytałem sam siebie, czy moja chęć pisania była czymś dosyć ważnym, aby ojciec objawiał z jej powodu tyle dobroci. Ale zwłaszcza, mówiąc o moich upodobaniach, które się nie zmieniają, o tym, co ma być moim szczęściem, ojciec rodził we mnie dwa straszliwe podejrzenia. Pierwsze, że (wówczas gdy każdego dnia czułem się jakby na progu jeszcze nietkniętego życia, mającego się rozpocząć aż jutro rano) moja egzystencja już się zaczęła; a bardziej jeszcze, że to, co w niej nastąpi, nie będzie zbyt różne od tego, co było przedtem. Drugim podejrzeniem, będącym po prawdzie jedynie inną formą pierwszego, było to, że nie znajduję się na zewnątrz Czasu, ale że podlegam jego prawom, zupełnie jak owe figury z powieści, które przez to właśnie pogrążyły mnie w takim smutku, kiedy czytałem ich życie w Combray, schowany w swojej budce. Teoretycznie wiemy, że ziemia się obraca, ale faktycznie nie spostrzegamy tego; ziemia, po której chodzimy, nie rusza się, i żyjemy spokojnie. Tak samo jest z Czasem. I, aby dać uczuć jego uciekanie, powieściopisarze zmuszeni są, przyspieszając szalenie ruch wskazówki, kazać czytelnikowi przebywać dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat w dwie minuty. Z początkiem strony opuściło się kochanka pełnym nadziei, u dołu następnej odnajduje się go osiemdziesięcioletnim starcem, który z trudem odbywa na dziedzińcu przytułku swoją codzienną przechadzkę, ledwie odpowiada na słowa do niego zwrócone, niepomny przeszłości. Powiadając o mnie: „To już nie dziecko, skłonności jego nie zmieniają się” itd., ojciec ukazał mi nagle mnie samemu w Czasie i pogrążył mnie w smutku tego samego rodzaju, co gdybym był, jeszcze niezramolałym lokatorem przytułku, ale jednym z owych bohaterów, o których autor powiada z końcem książki owym obojętnym tonem, dla mnie tak szczególnie okrutnym: „Coraz rzadziej opuszczał swoją wioskę. Osiadł tam w końcu ostatecznie” itd.

Tymczasem ojciec, aby ochronić gościa przed naszą możebną krytyką, rzekł do mamy:

— Przyznaję, że stary Norpois „celebrował” trochę, jak wy to nazywacie. Kiedy powiedział, że byłoby „niezbyt przystojne” zadawać pytania hrabiemu Paryża, bałem się, abyście nie parsknęli śmiechem.

— Ależ wcale nie — odparła matka — bardzo mi się podoba, że człowiek tej wartości i w tym wieku zachował coś z naiwności, świadczącej jedynie o uczciwym gruncie i o starannym wychowaniu.

— Z pewnością! Co mu nie przeszkadza być sprytnym i inteligentnym; mogę o tym mówić, bo widuję go w komisji zupełnie innym, niż jest tutaj — wykrzyknął ojciec, szczęśliwy, że mama uznaje pana de Norpois i chcąc jej dowieść, że eks-ambasador jest jeszcze niepospolitszy niż ona przypuszcza, ile że przyjaźń przecenia z taką samą przyjemnością, z jaką złośliwość lubi nie doceniać. — Jak on to powiedział... „Z tymi królewietami nigdy nie wiadomo”...

— Tak, tak, właśnie to. Zauważyłam, to było bardzo finezyjne. Widać że ma głęboką znajomość życia.

— To szczególne, że on był na obiedzie u Swannów i że tam spotkał na ogół ludzi przyzwoitych, urzędników. Gdzie pani Swann mogła złowić całą tę sosjetę?

— Czyś uważał, jak on złośliwie zrobił ten nawias: „To dom, gdzie bywają zwłaszcza mężczyźni!”?

I oboje silił się odtworzyć sposób, w jaki pan de Norpois wypowiedział te słowa, tak jakby chodziło o jakąś intonację Bressanta lub Thirona w *Awanturnicy* lub w *Zięciu pana Poirier*. Ale ze wszystkich powiedzeń, największy sukces miało to, które oceniła Franciszka: jeszcze w kilka lat później nie mogła „strzymać śmiechu”, kiedy się jej przypomniało, że ambasador potraktował ją jako „bezkonkurencyjnego kuchmistrza”, co jej matka poszła powtórzyć, jak minister wojny przekazuje po rewii komplement przejeżdżającego monarchy. Udałem się zresztą do kuchni przed mamą. Bo kazałem przyrzec Franciszce, pacyfistce, ale okrutnej z natury, że nie będzie zanadto męczyła królika prze-

znaczonego na zabicie; i nie miałem jeszcze biuletynu o tej śmierci. Franciszka upewniła mnie, że wszystko się odbyło jak najlepiej i bardzo szybko: „Nie widziałam jeszcze takiego stworzenia! ani krzykło, ani pisnęło słówka, myślałby kto, jaka niemowa”. Mało obyło ze słownikiem zwierząt, napomknąłem, że królik nie krzyczy może jak kura. „Też panicz utrafił — rzekła Franciszka oburzona moim nieuctwem — królik nie krzyczy jak kura! Głos to nawet ma mocniejszy”.

Franciszka przyjęła komplementy pana de Norpois z dumną prostotą, ze wzrokiem radosnym i bodaj przez chwilę — inteligentnym; ze wzrokiem artysty, gdy mu się mówi o jego sztuce. Matka posyłała ją swego czasu do paru sławnych restauracji, aby zobaczyła, jak tam gotują. Słyszając, jak najslawniejsze z nich Franciszka traktuje od „garkuchni” doznawałem takiej samej rozkoszy, jak niegdyś dowiadując się, że prawdziwa hierarchia aktorów nie pokrywa się ze stopniem ich reputacji.

— Ambasador — rzekła do kucharki matka — upewnia, że nigdzie się nie jada zimnej sztuki mięsa i sufletu takiego jak Franciszki.

Franciszka z miną osoby skromnej, oddającej hołd prawdzie, przytaknęła, bynajmniej zresztą niewzruszona tytułem ambasadora: mówiła o panu de Norpois z przychylnością należną komuś, kto ją wziął za kuchmistrza: „To poczciwy stary, taki jak ja”. Starła się go wprawdzie widzieć kiedy przybył, ale wiedząc, że mama nie cierpi wystawiania za drzwiami lub za oknem i bojąc się, że się dowie przez innych służących lub przez odźwiernego, iż ona stała na czatach (bo Franciszka widziała wszędzie tylko „zazdrości” i „gadania”, grające w jej wyobraźni tę samą ustawiczną i złowrogą rolę, co dla wielu osób intrygi jezuitów i Żydów), poprzestała na zaglądaniu przez okienko kuchenne, „aby się nie nasłuchać od swojej pani”. Ostatecznie, z ogólnego wyglądu, wzięła pana de Norpois „za pana Legrand”, z przyczyny jego *zwawości*, mimo że nie było między nimi żadnego podobieństwa.

— Ale — spytała matka — jak Franciszka sobie tłumaczy, że nikt nie umie zrobić auszpiku tak jak Franciszka, kiedy się przyłoży?

— Nie wiem, skąd mi to się pochodzi — odpowiadała Franciszka, która nie ustaliła w swoim słowniku form słowa „pochodzić”.

Mówiła zresztą po części prawdę i tak samo nie umiała — ani nie miała ochoty — odsłonić tajemnicy stanowiącej wyższość jej auszpiku i jej kremów, jak wielka elegantka strzeże sekretu swoich toalet lub wielka śpiewaczka swego śpiewu. Wyjaśnienia ich niewiele tłumaczy i tak samo było z przepisami naszej kucharki.

— One gotują zanadto na lap-cap — odpowiadała, mówiąc o wielkich restauratorach — i także nie wszystko razem. Trzeba, żeby mięso zrobiło się jak ta gąbka; wówczas pije wszystek sok aż do dna. Ale była jedna taka restracja, gdzie na mój rozum umieją trochę gotować. Nie mówię, żeby to był auszpik całkiem po mojemu, ale było robione pomału, a w sufletcie to czuło się śmietankę.

— Może Henry? — spytał ojciec, który wszedł za nami (ojciec bardzo cenił restaurację na placu Gaillon, gdzie w oznaczone dni miewał koleżeńskie obiady).

— Och, nie! — rzekła Franciszka ze słodyczą, pod którą kryła się głęboka wzgarda — ja powiadam o małej restracyjce. U tego Henry jest bardzo dobrze, pewno, ale to nie jest restracja, to prędzej bar.

— Weber?

— Och, nie, proszę pana, ja myślę dobra restracja. Weber, to jest przy rue<sup>41</sup> Royale; to nie restracja, to piwiarnia. Albo to tam umieją uczciwie podać? Nawet nie mają tam obrusów, wałą wszystko na stół jedno na drugie.

— Może Cirro?

Franciszka uśmiechnęła się:

— Och, ja myślę, że tam najlepsze w jeich kuchni to te panie ze świątka. — („Świątek” oznaczał dla Franciszki półświątek). — Ha, i to jest potrzebne dla młodzieży.

Spostrzegliśmy, że pod pozorami naiwności, Franciszka jest dla sławnych kuchmistrzów groźniejszą „koleżanką”, niż może nią być najbardziej zawistna i zarozumiała aktorka. Uczuliśmy zresztą, że ma słuszne poczucie swojej sztuki i poszanowanie tradycji, bo dodała:

<sup>41</sup>rue (fr.) — ulica [przypis edytorski]

— Nie, ja myślę restrację, co wygląda na taką sobie domową kuchenkę. Tam to są odpowiednie ludzie. Mają dość roboty. Targują tam dość susów. — (Oszczędna Franciszka liczyła na *sou*, nie na *ludwiki*, jak „okpisze”). — Pani zna przecie, po prawej na wielkich bulwarach, trochę z tyłu...

Restauracja, o której mówiła z tą sprawiedliwą miarą, nie bez odcienia dobroduszości i dumy, to było... „Café Anglais”.

Kiedy przyszedł 1 stycznia, odbyłem najpierw wizyty rodzinne z mamą, która, aby mnie nie męczyć, poklasyfikowała je z góry (przy pomocy planu nakreślonego przez ojca), raczej wedle dzielnicy niż wedle ścisłego stopnia pokrewieństwa. Ale ledwieśmy weszli do salonu dość dalekiej kuzynki, której racją pierwszeństwa było to, że mieszkała blisko nas, matka przeraziła się, widząc — z torebką cukrowanych kasztanów w ręku — najlepszego przyjaciela najdrażliwszego z moich wujów, który w ten sposób dowie się z pewnością, żeśmy nie rozpoczęli od niego swojej pielgrzymki. Ów wuj będzie z pewnością urażony; wydałoby mu się zupełnie naturalne, gdybyśmy szli od Madeleine do Jardin des Plantes, gdzie on mieszkał, aby się potem zatrzymać koło Saint-Augustin i ruszyć z powrotem na ulicę de l'École-de-Médecine.

Po skończeniu wizyt (babka zwalniała nas od wizyty, wobec tego że mieliśmy być u niej tego dnia na obiedzie) pobiegłem na Pola Elizejskie, aby zanieść naszej straganiarce list przeznaczony dla osoby zachodzącej tam kilka razy w tygodniu od Swannów po pierniki. Od dnia, gdy Gilberta sprawiła mi tyle przykrości, postanowiłem wysłać na Nowy Rok ten list, w którym oznajmiłem jej, że nasza dawna przyjaźń wygasa z końcem roku, że zapominam swoich uraz i zawodów, i że od 1 stycznia zbudujemy nową przyjaźń, tak trwałą, że jej nic nie zniszczy, tak cudowną, że mam nadzieję — pisałem — iż Gilberta włoży nieco kokieterii w to, aby zachować całą piękność tej przyjaźni i ostrzec mnie na czas — co i ja przyrzekałem uczynić — skoro tylko się zjawi najmniejsze niebezpieczeństwo zdolne ją naruszyć.

Za powrotem Franciszka zatrzymała mnie na rogu rue Royale przed wystawą, gdzie wybrała sobie na kolebę fotografie Piusa IX i Raspaila, ja zaś kupiłem fotografię Bermmy. Niezliczone zachwyty, jakie budziła artystka, czyniły czymś dość ubogim tę jedyną twarz, która mogła im uczynić zadość; twarz niezmienną i nikłą, niby strój osób niemających sukni na zmianę; twarz, którą zawsze mogła przystroić jedynie małą fałdką nad górną wargą, podniesieniem brwi, paroma wreszcie innymi właściwościami, zawsze tymi samymi i będącymi ostatecznie na łasce jakiegoś oparzenia lub innego wypadku. Ta twarz nie byłaby mi się zresztą sama przez się wydała piękna, ale budziła we mnie myśl — i tym samym ochotę — ucałowania jej, dla wszystkich pocałunków, które musiała znieść w życiu i które z głębi albumu z „widokówkami” zdawała się przyzywać jeszcze swoim zalotnie tklwym spojrzeniem i sztucznie naiwnym uśmiechem. Berma musiała istotnie odczuć wobec wielu młodych ludzi owe pragnienia, do jakich przyznawała się pod osłoną postaci Fedry, a zaspokojenie ich musiała jej przychodzić z łatwością, bodaj dzięki urokowi nazwiska, przydającego jej urody i przedłużającego młodość.

Wieczór zapadał, zatrzymałem się przed słupem z afiszami zapowiadającymi występ Bermmy na 1 stycznia. Był wilgotny i ciepły wiatr; pogoda, jaką znałem: miałem wrażenie i przecucie, że ten Nowy Rok nie różni się od innych dni, że nie jest pierwszym dniem nowego świata, w którym mógłbym, z nienaruszoną jeszcze szansą, odnowić znajomość z Gilbertą niby w momencie stworzenia świata, tak jakby nie istniała jeszcze przeszłość, jak gdyby znikły, wraz z jej możebnymi wróżbami na przyszłość, zawody, jakie mi nieraz sprawiła: nowy świat, gdzie by nie pozostało nic z dawnego... jedynie to: moje pragnienie, aby mnie Gilberta kochała.

Zrozumiałem, że jeśli moje serce pragnie tej odnowy otaczającego je świata, który go nie zadowolił, to dlatego, że ono, moje serce, nie zmieniło się. I powiedziałem sobie, że nie ma racji, aby serce Gilberty odmieniło się bardziej od mego: uczułem, że ta nowa przyjaźń, to jest ta sama, tak jak nie są od dawnych lat oddzielone jakimś rowem nowe lata, które pragnienie nasze, nie mogąc ich osiągnąć i przeobrazić, znaczy — bez ich wiedzy — odmienną nazwą. Daremnie ofiarowywałem ten rok Gilbertcie, tak jak się nadbudowuje religię na ślepych prawach przyrody; daremnie siłem się wycisnąć na tym Nowym Roku osobliwe pojęcie, jakie sobie o nim stworzyłem; wszystko na próżno; czułem, iż on nie

wie, że go nazwano Nowym Rokiem, że kończy się w zmierzchu w sposób, który mi nie był nowy: w łagodnym wietrze, jaki wiał dokoła słupa z afiszami, poznałem, uczułem powracającą wieczną i pospolitą materię, znaną wilgoć, nieświadomą płynność dawnych dni.

Wróciłem do domu. Przeżyłem 1 stycznia ludzi starych, którzy różnią się w tym dniu od młodych, nie dlatego, że im się już nie daje kolędy, ale dlatego, że już nie wierzą w Nowy Rok. Kolędę dostałem, ale nie tę, która byłaby mi sprawiła przyjemność, a którą byłoby słówko od Gilberty. Ale byłem jeszcze młody, skorom mógł napisać do niej list, w którym spodziewałem się, mówiąc o samotnych marzeniach swojego serca, obudzić w Gilbertce podobne uczucia. Smutek ludzi, którzy się zestarzelili, tkwi w tym, że nawet nie myślą o pisaniu takich listów, zrozumiawszy ich daremność.

Kiedym się położył, odgłosy ulicy, przedłużające się w ten wieczór świąteczny do późna, nie pozwoliły mi zasnąć. Myślałem o wszystkich ludziach, którzy zakończą tę noc przyjemnie; o kochanku, może o hulaszkiej zgrai, która wpadnie z pewnością po Bermę z końcem tego zapowiedzianego na wieczór spektaklu. Nie mogłem nawet — aby uspokoić podniecenie, jakie ta myśl rodziła we mnie w ciągu bezsennej nocy — powiedzieć sobie, że Berma nie myśli może o miłości, skoro recytowane przez nią, a długo studiowane wiersze przypominały jej co chwilę, że miłość jest rozkoszna, co wiedziała zresztą tak dobrze, że demonstrowała jej wzruszenia, dobrze znane, ale obdarzone nową siłą i nieprzeczuwaną słodyczą; demonstrowała je oczarowanym widzom, z których każdy przecie poznał je kiedyś sam przez się. Zapaliłem świecę, aby jeszcze raz popatrzeć na jej twarz. Na myśl, że ta twarz była z pewnością pieszczona w tej chwili przez owych mężczyzn, którzy w mojej wyobraźni dawali Bermie i otrzymywali od niej nadludzkie i nieznanne rozkosze, odczuwałem skurcz bardziej bolesny niż rozkoszny, nostalgię, którą pogłębiał dźwięk rogu, taki jak się słyszy w noc Mi-Carême, a często w inne dni zabaw; dźwięk, przez to że wyzuty z poezji, smutniejszy wówczas, gdyż wychodzący z szynkowni, niż „wieczorem w głębi lasu”. W tej chwili list Gilberty nie byłby może tym, czego by mi było trzeba. Nasze pragnienia krzyżują się i w zamęcie bytu rzadkie jest, aby szczęście pokryło się ściśle z pragnieniem, które go wzywało.

Chodziłem nadal na Pola Elizejskie w pogodne dni, przez ulice, których różowe i wytworne domy kąpały się — był to moment wielkiego sukcesu Wystawy Akwarelistów — w ruchliwym i lekkim niebie. Skłamałbym, mówiąc, że w owym czasie pałace Gabriela zdawały mi się piękniejsze lub nawet różną epoką od sąsiednich domów. Stylowszy i niemal starożytniejszy wydawał mi się jeżeli nie Palais de l'Industrie, to przynajmniej gmach Trocadero. Zanurzona w niespokojnym śnie, młodość moja spowijała wspólnym marzeniem całą dzielnicę, po której je wodziła, i nigdy nie pomyślałem, aby mogła istnieć budowla z XVIII wieku przy ulicy Royale, tak samo jak byłbym zdziwiony, dowiadując się, że Porte-Saint-Martin i Porte-Saint-Denis, arcydzieła z epoki Ludwika XIV, nie są współczesne najświeższym kamienicom tych plugawych dzielnic. Raz tylko któryś z pałaców Gabriela zatrzymał mnie długo; bo kiedy zapadła noc, jego kolumny, odmaterializowane blaskiem księżyca, wyglądały jak wycięte z kartonu i, przypominając mi dekoracje operetki *Orfeusz w piekle*, dały mi pierwszy raz wrażenie piękności.

Ale Gilberta wciąż nie przychodziła na Pola Elizejskie. A ja tak potrzebowałem ją ujrzeć, bo nie pamiętałem nawet jej twarzy! Badawczy, trwożliwy, wymagający sposób, w jaki patrzymy na osobę, którą kochamy; oczekiwanie słowa, dającego nam lub odbierającego nadzieję spotkania jej nazajutrz; i aż do czasu, gdy to słowo padnie, nasze kolejne — o ile nie równoczesne — ataki nadziei i rozpaczy, wszystko to wprawia nas w obliczu ukochanej istoty w zbyt silne wewnętrzne drżenie, abyśmy mogli uzyskać jasny jej obraz. Może też owa czynność wszystkich zmysłów naraz, próbująca poznać samym wzrokiem to, co jest poza nim, zbyt pobłażliwa jest na tysiąc form, na wszystkie smaki, na ruchy osoby żywej, którą zazwyczaj, nie kochając, unieruchomiamy. Przeciwnie, model ukochany porusza się: otrzymujemy zeń zawsze tylko zepsute fotografie.

Nie wiedziałem już doprawdy, jak wyglądają rysy Gilberty, z wyjątkiem boskich chwil, w których rozwijała je dla mnie: przypominałem sobie tylko jej uśmiech. I nie mogąc odtworzyć tej ukochanej twarzy, mimo wszelkich wysiłków, jakie czyniłem, aby ją sobie przypomnieć, irytowałem się, znajdując wyrysowane w swojej pamięci ze skończoną dokładnością bezużyteczne i wyraziste twarze przekupki i człowieka od karuzeli,

Starość, Młodość, List,  
Nadzieja



podobnie jak ci, co stracili ukochaną istotę i nigdy nie oglądając jej we śnie, wściekają się, że wciąż spotykają w snach tyle nieznośnych osób, które aż nadto wystarczy znać na jawie. W niemożności wyobrażenia sobie przedmiotu swego bólu, obwiniają się niemal o to, że nie czują bólu. I ja byłem niedaleki od myśli, że skoro sobie nie mogę przypomnieć rysów Gilberty, zapomniałem jej samej, nie Kocham jej już.

Wreszcie zaczęła znów przychodzić na Pola Elizejskie prawie co dzień, następcząc mi wciąż nowe pragnienia i prośby odkładane do jutra, czyniąc w tym sensie moją czułość każdego dnia czymś nowym. Ale jedna rzecz zmieniła — jeszcze raz, i to nagle — sposób, w jaki co popołudnia około drugiej wylaniał się problemat mojej miłości. Czy pan Swann znalazł mój list do córki, czy też Gilberta, chcąc mnie skłonić do ostrożności, wyznała mi aż znacznie później dawny już stan rzeczy? Kiedym jej mówił, jak bardzo podziwiam jej rodziców, przybrała ową nieuchwytną, pełną zastrzeżeń i sekretów minę, jaką miała, kiedy się mówiło o jej projektach, sprawunkach i wizytach, i naraz powiedziała wręcz: „Wiesz, rodzice wcale nie przepadają za tobą!”. I, wyslizgując się jak ondyna — to był jej styl — parsknęła śmiechem. Często śmiech Gilberty, kłócąc się z jej słowami, zdawał się, jak to robi muzyka, opisywać na innym planie niewidzialną powierzchnię.

Państwo Swann nie żądali od córki, aby przestała się ze mną bawić, ale byliby woleli — tak sądziła Gilberta — aby się to nie było zaczęło. Nie patrzyli na nasze stosunki przychylnym okiem, nie mieli dobrego pojęcia o moim poziomie moralnym; sądzili, że mogę wyrzucić na ich córkę jedynie zły wpływ. Ten gatunek zepsutej młodzieży, z którą utożsamiał mnie pan Swann, wyobrażałem sobie jako osobników, którzy nienawidzą rodziców swojej wybranej, schlebnią im w oczy, ale drwią z nich wraz z córką, popychają ją do nieposłuszeństwa, a skoro raz ją zdobyli, pozbawiają rodziców nawet jej widoku. Tym rysom (pod jakimi nawet największy nędznik nigdy nie widzi samego siebie) serce moje z uniesieniem przeciwstawiało swoje uczucia dla ojca Gilberty; a uczucia te były tak gorące, że nie wątpiłem, iż gdyby pan Swann mógł się ich domyślać, pożałowałby swojego sądu o mnie niby omyłki sądowej. Wszystko, com czuł dla niego, ośmieliłem się wypisać mu w długim liście, który powierzyłem Gilbertce, prosząc, by go oddała ojcu. Zgodziła się. I oto, ach, Swann widział we mnie większego jeszcze szalbierza niż myślałem; wątpił o uczuciach, które starałem się odmalować z taką prawdą na szesnastu stronicach; list mój do niego, równie gorący i szczery jak mój wylew wobec pana de Norpois, okazał się równie bezskuteczny. Odciągnąwszy mnie na bok poza klomb laurów, na ścieżkę, gdzieśmy usiedli obok siebie na krzeselkach, Gilberta opowiedziała mi nazajutrz, że czytając list (który mi odniosła), ojciec wzruszał ramionami, mówiąc: „To wszystko nic nie znaczy; to tylko dowodzi, jak bardzo mam słusność”.

Ja, który znałem czystość własnych intencji, piękno własnej duszy, czułem się oburzony, że moje słowa nawet nie musnęły niedorzecznej omyłki Swanna. Bo to była omyłka, nie wątpiłem o tym wówczas. Opisałem tak ściśle pewne niezawodne znamiona swoich szlachetnych uczuć, że skoro Swann nie odtworzył sobie natychmiast z tych znamion mego stanu duszy, skoro nie przyszedł mnie przeprosić i wyznać, że się omylił, widać sam nigdy nie doznał tych szlachetnych wzruszeń, a co za tym idzie, niezdolny był pojąć ich w drugich.

Otóż może po prostu Swann wiedział, że szlachetność jest często wewnętrznym obrazem naszych samolubnych uczuć, kiedyśmy ich jeszcze nie nazwali i nie sklasyfikowali. Może w sympatii, jaką mu wyrażałem, ujrzał proste działanie — i entuzjastyczne potwierdzenie — mojej miłości do Gilberty, która to miłość — nie zaś wtórna cześć dla ojca ukochanej — kierowałaby niechybnie na przyszłość moimi postępami. Nie mogłem podzielać jego przewidywań, bo nie udało mi się swojej miłości oderwać od samego siebie, aby spojrzeć na nią z ogólnej perspektywy i dopuścić doświadczalnie jej konsekwencji; byłem w rozpacz.

Musiałem na chwilę opuścić Gilbertę, Franciszka wołała mnie. Trzeba mi było tarzyszyć jej do małego kiosku o ścianach pokrytych zieloną kratą, dosyć podobnego do opuszczonych domków akcyzy starego Paryża. Od niedawna urządzono tam to, co w Anglii nazywa się *lavabo*, a we Francji, przez źle poinformowaną anglomanię — wateklozet. Stare i wilgotne mury przedsiönka, gdzie czekał na Franciszkę, wydzielaly chłodną woń stęchlizny, która rozpraszając natychmiast troski zrodzone ze słów Swanna, przeniknęła mnie przyjemnością nie tego samego rodzaju co inne, mniej stałe, tak trud-

Miłość, Samolubstwo

no dające się pochwycić, zatrzymać, posiadać, ale przeciwnie, przyjemnością rzetelną, na której mogłem się oprzeć, rozkoszną, spokojną, bogatą w prawdę trwałą, niewytłumaczoną i pewną. Byłbym chciał, jak niegdyś w swoich wycieczkach w stronę Guermantes, przeniknąć czar tego wrażenia i trwać bez ruchu, zgłębiając tę stareńką emanację, skłaniającą mnie, aby się nie tyle cieszyć przyjemnością (ofiarowaną mi jedynie w naddatku), ile zstąpić w realność, której nie odsłoniła mi jeszcze. Ale gospodyni *lavabo*, starsza dama o utynkowanych licach, w rudej peruce, zagaiła rozmowę. Franciszka uważała ją za „bardzo dobrze z domu”. Córka jej poślubiła — znów wedle wyrażenia Franciszki — „chłopca z odpowiedniej rodziny”, tym samym kogoś, kogo od robotnika dzieliła większa przepaść niż dla Saint-Simona dzieli diuka od kogoś kto „wyszedł z mętów gminu”. Bez wątpienia dama w *lavabo*, nim doszła do tej profesji, musiała przeżyć jakieś katastrofy. Ale Franciszka upewniała, że to jest margrabina i że pochodzi z rodziny Saint-Ferréol. Owa margrabina poradziła mi, żebym nie stał na chłodzie i otworzyła mi nawet ubikację, mówiąc: „Nie chce pan wejść? tu jest zupełnie czysto, dla pana będzie gratis”. Robiła to może tylko tak jak panny od Gouache’a, które, kiedyśmy przychodzili z jakimś zamówieniem, częstowały mnie cukierkiem (niestety, mama zabraniała mi go przyjmować) wyjętym z klosza na ladzie; może i mniej niewinnie, jak pewna stara kwaciarka, która zaopatrywała z urzędu żardiniery mamy i która dawała mi różę, robiąc słodkie oczy. Bądź jak bądź, jeżeli margrabina miała pociąg do młodych chłopców, w takim razie otwierając im podziemne bramy owych kamiennych sześcianów, gdzie ludzie kulą się przycupnięci jak sfinksy, musiała czerpać w swojej hojności nie tyle nadzieję uwiedzenia ich, ile przyjemność, jakiej doznajemy, okazując bezinteresowną rozrzutność wobec przedmiotu ukochania; nigdy bowiem nie widziałem u niej innego gościa prócz starego stróża ogrodowego.

W chwilę potem opuściłem markizę w towarzystwie Franciszki, po czym opuściłem Franciszkę, aby wrócić do Gilberty. Spostrzegłem ją natychmiast na krześle, za klombem laurów; chodziło o to, aby jej przyjaciółki nie dojrzały: grały w chowanego. Siadłem koło niej. Miała płaski toczek, który jej schodził dość nisko na oczy, dając tym oczom to samo spojrzenie „spode łba”, marzące i nieszczerze, jakie widziałem u niej pierwszy raz w Combray. Spytałem, czy nie byłoby sposobu rozmówić się z jej ojcem. Odrzekła, że mu to proponowała, ale że pan Swann uważa to za zbyt czyste. „Masz — dodała — zabierz swój list, trzeba iść do tamtych, skoro mnie nie znaleźli”.

Gdyby Swann nadszedł wówczas, zanim jeszcze odebrałem ów list, o którego szczerości wątpić wydawało mi się takim szaleństwem, może przekonałby się, że to on miał słuszość. Bo zbliżając się do Gilberty, która, przechylona w tył na krześle, mówiła, żebym wziął list, nie dając mi go, odczułem taki pociąg do jej ciała, że powiedziałem:

— Słuchaj, nie daj go sobie odebrać, sprawdzimy, kto jest silniejszy.

Ukryła list za plecami, ja ująłem ją rękami za kark, podnosząc warkocze, spadające jej na ramiona (czy że to było odpowiednie dla jej wieku, czy że matka chciała z niej dłużej robić dziecko, aby się odmłodzić sama); mocowaliśmy się wyprężeni. Starłem się przyciągnąć Gilbertę, opierała się; policzki jej, rozpalone wysiłkiem, były czerwone i okrągłe jak wiśnie; śmiała się tak, jakbym ją łaskotał; trzymałem ją ściśniętą między nogami jak drzewko, na które bym się wdrapywał; i pośród tej gimnastyki, z lekkim przyspieszeniem oddechu, zrodzonym z wysiłku mięśni i z podniecenia zabawą, rozlałem — niby kilka kropel potu wyciśniętego wysiłkiem — swoją rozkosz, przy której nie mogłem się zatrzymać nawet na tyle, aby poznać jej smak. Natychmiast wziąłem list. Wówczas Gilberta rzekła z dobrocią:

— Wiesz, jeżeli chcesz, możemy się mocować jeszcze trochę.

Może uczuła mętnie, że moja gra miała inny cel niż ten, który podałem, ale nie umiała poznać, żem go osiągnął. A ja, obawiając się, aby tego nie spostrzegła (a pewne cofnięcie się wstecz, niby gest obrażonego wstydu, zbudziło we mnie w chwilę potem myśl, że miałem rację się lękać), zacząłem się dalej mocować, iżby Gilberta nie przypuszczała, że ja nie miałem innego celu tylko ten, po którym pragnąłem już tylko siedzieć spokojnie przy niej.

Wracając, spostrzegłem, przypomniałem sobie nagle ukryty dotąd obraz, do którego zbliżył mnie, nie dając mi go ujrzeć ani rozpoznać, cuchnący prawie sadzą chłód okratowanego kiosku. Obrazem tym był pokoik wuja Adolfa w Combray, wydzielający

Zabawa

Zapach

w istocie ten sam zapach wilgoci. Ale nie mogłem zrozumieć (i odłożyłem dociekanie tego na później), czemu przypomnienie tak nikłego obrazu dało mi tyle szczęścia. Na razie, zdawało mi się, że w istocie zasłużył na wzgardę pana de Norpois; ponad wszystkich pisarzy przekładałem dotąd tego, którego on nazywał prostym „wirtuozem na flecie”, a w prawdziwą egzaltację wprawiła mnie nie jakaś doniosła myśl, ale woń stęchlizny.

Od pewnego czasu w pewnych rodzinach nazwa Pól Elizejskich — jeżeli ją ktoś wymówił w czasie wizyty — spotykała się u matek z ową niechętną miną, z jaką przyjmują nazwisko głośnego lekarza, który, jak twierdzą, postawił zbyt wiele błędnych diagnoz, aby móc jeszcze budzić zaufanie. Upewniano, że ten ogród nie służy dzieciom; że można by przytoczyć niejeden wypadek zapalenia gardła, niejedną odrę i sporo gorączek, za które on był odpowiedzialny. Nie kwestionując otwarcie troskliwości matki, która wciąż mnie tam posyłała, przyjaciółki ubolewały jednak nad jej zaślepieniem.

Mimo uświęconego poglądu, neuropaci są może ludźmi, którzy obserwują się — „nasłuchują” — najmniej; słyszą w sobie tyle rzeczy, którymi — jak się okazuje potem — niesłusznie się niepokoiłi, że w końcu nie zwracają uwagi na żadną. Ich system nerwowy tak często krzychał: „Ratunku!”, niby w ciężkiej chorobie (kiedy po prostu miał padać śnieg albo miało się zmienić mieszkanie), że przyzwyczajają się nie brać w rachubę owych ostrzeżeń, podobnie jak żołnierz, który w zapale walki lekceważy je tak bardzo, że, będąc umierający, zdolny jest prowadzić jeszcze przez kilka dni życie zdrowego człowieka. Pewnego ranka, nosząc w sobie zespół zwykłych niedomagań, których stałe i wewnętrzne krążenie zawsze ignorowałem, niby krążenie swojej krwi, wbiegłem rażno do jadalni, gdzie rodzice już siedzieli przy stole. Powiadając sobie, jak zwykle, iż czuć zimno może znaczyć nie to, że trzeba się ogrzać, ale na przykład to, że się było połajany, a nie mieć apetytu to, że będzie padał deszcz, nie zaś, że nie trzeba jeść — siadłem do stołu. Naraz, w chwili gdy miał przelknąć pierwszy kąsek apetycznego kotleta, zatrzymały mnie nudności, zawrót głowy, gorączkowa odpowiedź rozpoczynającej się choroby, której objawy przesłonił i opóźnił chłód mojej obojętności, ale która uparcie odmawiała niepożądanego dla organizmu pożywienia. Wówczas, w tej samej sekundzie, myśl, że mi nie pozwolą wyjść, o ile spostrzegą, że jestem chory, dała mi — niby instynkt samozachowawczy ranemu — siłę zawleczenia się do swego pokoju (gdziem spostrzegł, że mam 40° gorączki), a potem wybierania się na Pola Elizejskie. Poprzez mdlejące i przepuszczalne ciało, którym była spowita, moja uśmiechnięta myśl żądała owej tak słodkiej przyjemności partii „klas” z Gilbertą; i w godzinę później, ledwo trzymając się na nogach, ale szczęśliwy, miałem siłę kosztować jej jeszcze.

Za powrotem Franciszka oświadczyła, że jestem niezdrow, że musiała mnie „chycić frybra”. Wezwany natychmiast lekarz oświadczył, że „woli” „powagę” i „nasilenie” stanu gorączkowego (który towarzyszył przekrwieniu płuc i który będzie tylko „słomianym ogniem”) od bardziej „zdradliwych” i „utajonych” form choroby. Od dawna już podlegałem dusznościom i nasz lekarz (mimo niezadowolenia babki, która widziała mnie już beznadziejnym alkoholikiem), oprócz kofeiny, którą mi przepisano dla ułatwienia oddychania, radził mi piwo, szampan lub koniak, skoro uczuję, że się zbliża napad. Ataki — powiedział — rozchodzą się w „euforii” spowodowanej alkoholem. Aby się babka zgodziła na podanie mi alkoholu, musiałem często nie ukrywać, ale wręcz ostentacyjnie okazywać stan duszności. Zresztą, z chwilą gdym czuł, że atak się zbliża, zawsze niepewny jego rozmiarów, niepokoiłem się o zmartwienie babki, któremu się obawiał znacznie więcej niż własnego cierpienia. Ale równocześnie, ciało moje — czy nazbyt słabe, aby zachować sekret tego cierpienia, czy obawiając się, aby w nieświadomości grożącego ataku, nie żądano ode mnie jakiegoś wysiłku, który byłby dla tego ciała niemożliwy lub niebezpieczny — rodziło we mnie potrzebę ostrzeżenia babki o moich przypadłościach, z dokładnością, w którą wkładałem w końcu fizjologiczną niejako skrupulatność. Skorom spostrzegłem w sobie jakiś przykry objaw, którego dotąd nie wyróżniłem, ciało moje było w rozpaczy póty, pókim się nie podzielił tym symptomem z babką. Jeżeli babka udawała, że nie zwraca na to uwagi, ciało żądało, aby wrócić do owego tematu. Czasami szedłem za daleko; i ukochana twarz, która nie zawsze już umiała tak jak dawniej panować nad swymi wzruszeniami, zdradzała wyraz współczucia, bolesny skurcz. Wówczas serce moje cierpiało od jej bólu; i jak gdyby moje pocałunki mogły zatrzeć to zmartwienie, jak gdyby moja czułość mogła dać babce tyleż radości co moje szczęście, rzucałem się w jej ramiona.

A że skrupuły uspokoiły się skądinąd pewnością, że babka zna mój stan, ciało nie sprzeciwiało się temu, abym ją uspokoił. Zaręczałem jej, że ten stan nie ma nic przykrego, że nie trzeba mnie żałować; może być pewna, że jestem szczęśliwy! Moje ciało chciało uzyskać ściśle tyle litości, na ile zasługiwało, i byleby wiedziano, że je boli w prawym boku, nie miało nic przeciw temu, abym oznajmił, że ten ból nie jest żadną katastrofą i że nie jest dla mnie przeszkodą do szczęścia. Bo ciało moje nie miało pretensji do filozofii; to nie był jego wydział.

Podczas rekonwalescencji miałem prawie co wieczór napady duszności. Pewnego wieczora, kiedy babka zostawiła mnie w dość dobrym stanie, zaszła do mego pokoju bardzo późno i spostrzegła, że mi brak oddechu. „Och, Boże, jak ty cierpisz!” — wykrzyknęła ze zmienioną twarzą. Opuściła mnie natychmiast, usłyszałem trzask bramy; za jakiś czas babka wróciła z koniakiem, po który pojechała, bo go nie było w domu. Niebawem zacząłem się czuć szczęśliwy. Babka, trochę czerwona, miała minę nieswoją, w oczach wyraz zmęczenia i zwątpienia.

— Wolę cię zostawić, żebyś skorzystał trochę z tej poprawy — rzekła, opuszczając mnie nagle. Uściskałem ją i uczułem na jej policzkach coś mokrego; nie wiedziałem, czy to wilgoć nocnego powietrza, z którego wróciła. Nazajutrz przyszła do mnie aż wieczór, bo musiała — powiedziano mi — wyjść z domu. Uznałem to za dowód wielkiej obojętności i trzeba mi było panować nad sobą, aby babce tego nie wymówić.

Kiedy duszności powtarzały się, mimo że stan zapalny już ich nie usprawiedliwiał, rodzice wezwali profesora Cottard. W tego rodzaju wypadkach lekarzowi nie wystarczy być uczonym. Wobec objawów, mogących pochodzić z kilku różnych chorób, w rezultacie węgł lekarza, jego rzut oka, rozstrzygają, z którą z nich — mimo mniej więcej podobnych symptomów — ma się prawdopodobnie do czynienia. Temu tajemniczemu darowi nie musi towarzyszyć znakomitość innych cech intelektualnych; osobnik całkiem pospolity, lubiący najgorsze malarstwo, najgorszą muzykę, niemający żadnych zainteresowań umysłowych, może doskonale posiadać ów dar. W moim wypadku to, co było dostępne bezpośredniej obserwacji, mogło mieć równie dobrze jako przyczynę spazm nerwowy, początek gruźlicy, astmę, autointoksykację z następową niedomogą nerek, chroniczny nieżyt oskrzeli, wreszcie stan złożony, w który wchodziłoby kilka z tych czynników. Otóż spazm nerwowy najlepiej było zlekceważyć; gruźlica żądała wielkiej troskliwości i forsownego odżywiania, które byłoby szkodliwe dla astmy artretycznej, a mogło się stać niebezpieczne w razie dusznicy toksyalimentarnej, wymagającej diety zgubnej znowuż dla gruźlika. Ale wahanie profesora Cottard było krótkie, a przepisy stanowcze.

— Energiczne środki przeczyszczające, mleko przez kilka dni, nic tylko mleko. Żadnego mięsa, żadnego alkoholu.

Matka szepnęła, że potrzebuję przecież wzmocnienia, że jestem już dość nerwowy, że taka kuracja i taka dieta wyniszczą mnie. W oczach Cottarda, tak niespokojnych, jakby się obawiał spóźnić na pociąg, ujrzałem, że profesor pyta sam siebie, czy się nie dał uwieść swojej wrodzonej łagodności. Starał się sobie przypomnieć, czy pamiętał przybrać zimną maskę, jak ktoś sprawdza w lustrze, czy nie zapomniał zawiązać krawata. W tej niepewności, jakby chcąc na wszelki wypadek nadrobić zaniedbanie, odpowiedział niegrzecznie:

— Nie mam zwyczaju dwa razy powtarzać swoich przepisów. Niech mi pani da pióro. I zwłaszcza mleko. Później, kiedy przetniemy ataki i bezsenność, zgadzam się na trochę zupy, potem purée, ale wciąż mleko, mleko. Oto jest moje *mleczenie*. — (Uczniowie jego znali ten kalambur, który profesor popełniał w szpitalu za każdym razem, kiedy choremu na serce lub wątrobę zalecał mleczną dietę). — Potem chory wróci pomału do zwykłego trybu życia. Ale za każdym razem, kiedy się zjawia kaszel i dusznica, znów przeczyszczenie, lewatywy, łóżko, mleko.

Profesor wysłuchał z lodowatą twarzą, bez odpowiedzi, ostatnich zastrzeżeń matki i kiedy odszedł, nie racząc podać motywów tej kuracji, rodzice uznali ją za niewłaściwą dla mojej choroby, za niepotrzebnie osłabiającą i nie spróbowali jej. Starali się oczywiście ukryć przed profesorem swoje nieposłuszeństwo i dla pewności unikali domów, gdzie by go mogli spotkać. Później, kiedy mój stan się pogarszał, zdecydowano się wykonać ściśle przepisy Cottarda; po trzech dniach nie miałem już rzężeń ani kaszlu i oddychałem dobrze. Wówczas zrozumieliśmy, że Cottard, znajdując mnie, jak powiedział później, dość astmatycznym, a zwłaszcza „narwanym”, poznał, że w tej chwili przeważa u mnie zatrucie

i że, opróżniając wątrobę i przepłukując nerki, odciąży oskrzela, wróci mi oddech, sen i siły. I zrozumieliśmy, że ten głupiec jest wielkim klinicystą.

Mogłem wreszcie wstać. Ale postanowiono mnie już nie posyłać na Pola Elizejskie. Powiadano, że są zapowietrzzone; sądziłem, że korzystano z tego pozoru, abym już nie mógł widywać panny Swann. Zmuszałem się do tego, aby powtarzać bez przerwy imię Gilberty, niby ów język ojczysty, który zwyciężeni starają się przechować, aby nie zapomnieć ojczyzny, której już nie ujrzą. Od czasu do czasu matka wodziła mi ręką po czole, mówiąc:

— Więc już małe chłopczyki nie opowiadają mamusi swoich sekretów?

Franciszka zachodziła do mnie co dnia, powiadając:

— Ależ panicz wygląda! Panicz się sobie nie przyjrzał, czysty umrzyk!

Faktem jest, że gdybym miał zwyczajny katar, Franciszka przybrałaby tę samą karaniarską minę. Biadolenia te bardziej były związane z jej „klasą” niż z moim stanem zdrowia. Nie orientowałem się wówczas, czy ten pesymizm był u Franciszki bolesny czy zadowolony. Uznałem prowizorycznie, że jest klasowy i zawodowy.

Pewnego dnia, w godzinie poczty, matka położyła mi na biurku list. Otworzyłem go z roztargnieniem, bo nie mógł mieć jedyne go podpisu zdolnego mnie uszczęśliwić, podpisu Gilberty, z którą poza Polami Elizejskimi nie byłem w stosunkach. Arkusik ozdobiony był srebrną pieczęcią, przedstawiającą rycerza w hełmie, pod którym wiła się dewiza: *Per viam rectam*<sup>42</sup>; list zaś kreślony był dużym pismem, gdzie wszystkie zdania zdawały się podkreślone, po prostu dlatego, że wszystkie „t”, przekreślone nie przez literę, ale nad literą, tworzyły linię pod odpowiednim słowem górnego wiersza. U dołu ujrzałem — podpis Gilberty. Ale, ponieważ uważałem ten podpis w liście adresowanym do mnie za niemożliwy, widok ten, niepoparty wiarą, nie sprawił mi radości; raczej przez chwilę powlókł nierealnością wszystko, co mnie otaczało. Z zawrotną szybkością ten nieprawdopodobny podpis grał w cztery kąty z moim łóżkiem, z kominkiem, ze ścianą. Wszystko mi tańczyło w oczach jak komuś, kto spada z konia; pytałem sam siebie, czy nie ma jakiegoś istnienia, zupełnie odmiennego niż to, które znałem, sprzecznego z nim, ale właśnie prawdziwego, i to istnienie, objawiwszy mi się nagle, napełniało mnie owym wahaniem, jakie, malując Sąd Ostateczny, rzeźbiarze dali zmarłym, obudzonym na progę tamtego świata.

„Drogi przyjacielu — mówił list — dowiedziałam się, żeś był bardzo cierpiący i że już nie przychodzisz na Pola Elizejskie. Ja też nie chodzę, bo tam jest mnóstwo chorych. Ale moja gromadka przychodzi do nas na podwieczorek co poniedziałek i co piątek. Mama każe ci powiedzieć, że zrobiłbyś nam wielką przyjemność, gdybyś przyszedł, skoro tylko poczujesz się lepiej; będziemy mogli podjąć w domu nasze miłe rozmowy z Pól Elizejskich. Do widzenia zatem, mam nadzieję, że rodzice pozwolą ci przychodzić bardzo często, i ślę ci wyrazy szczerzej przyjaźni. Gilberta”.

Podczas gdy czytałem te słowa, mój system nerwowy przyjmował z cudowną pilnością nowinę, że zdarzyło mi się wielkie szczęście. Ale duch mój, to znaczy ja sam — ostatecznie głównie zainteresowany — nie wiedział o tym jeszcze. Szczęście, szczęście przez Gilbertę, to była rzecz, o której stale myślałem, rzecz cała w myślach; to była, jak powiedział Leonardo o malarstwie, *cosa mentale*<sup>43</sup>. Ćwiartki papieru pokrytej pismem myśl nie przyswajają sobie od razu. Ale, skoro tylko skończyłem czytać list, zacząłem myśleć o nim, stał się przedmiotem marzenia, stał się i on także *cosa mentale*, i kochałem go już tak, że co pięć minut trzeba mi było odczytywać go, całować. Wówczas poznałem swoje szczęście.

Życie usiane jest cudami, których zawsze mogą spodziewać się ci, co kochają. Możliwe jest, że ten cud wywołała sztucznie mama, która, widząc, że od jakiegoś czasu straciłem wszelką chęć do życia, poprosiła może w jakiś sposób Gilberty, aby do mnie napisała, tak jak w czasie moich pierwszych kąpielii morskich, chcąc mnie zachęcić do nurkowania, czego nie cierpiałem, bo traciłem przy tym oddech, wręczała w sekrecie kąpielowemu cudowne skrzynki z muszel i gałazki koralu, o których myślałem, że je sam znajduję

<sup>42</sup>*per viam rectam* (lac.) — prostą drogą. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*La pittura è cosa mentale* (wł.) — obraz to kwestia (dotycząca) umysłu; sentencja streszczająca pogląd, że w sztuce malarskiej nie technika, rysunek, nakładanie farb itp. są najważniejsze, ale główne założenie, proces umysłowy poprzedzający działanie twórcze. [przypis edytorski]

na dnie morza. Zresztą we wszystkich wypadkach, które w życiu i jego splątanych sytuacjach odnoszą się do miłości, najlepiej jest nie starać się zrozumieć, skoro w tym, co mają nieubłaganego lub niespodziewanego, zdają się podlegać prawom raczej mistycznym niż racjonalnym. Kiedy multimilioner, człowiek mimo to uroczy, dostawszy odprawę od ubogiej i nieładnej kobiety, z którą żyje, przyzywa wszystkie potęgi złota i wprawia w ruch wszystkie wpływy ziemi, nie mogąc uzyskać swego powrotu do łask, wówczas, wobec niezwykłego uporu jego kochanki, lepiej przypuścić, że to Los chce go zmiażdżyć i uśmiercić chorobą serca, niż szukać logicznego wytłumaczenia. Te przeszkody, z którymi kochankowie muszą walczyć i które ich przegrzana cierpieniem wyobraźnia próżno sili się odgadnąć, tkwią czasem w jakiejś osobliwości charakteru kobiety, w jej głupocie, w czymś wpływie na nią, obawach, jakie jej podsunęły osoby, których kochanek nie zna, w rodzaju przyjemności, jakich ona w danej chwili żąda od życia, a których ów amant wraz z całym swoim majątkiem nie może jej dostarczyć. W każdym razie kochanek jest ostatnim człowiekiem zdolnym odgadnąć naturę przeszkód, które kobieca chytryść mu ukrywa, a których własny jego sąd, spaczony miłością, nie umie ściśle ocenić. Podobne są owym guzom, które lekarz usuwa w końcu, nie poznawszy jednak ich pochodzenia. Jak owe guzy, przeszkody te zostają tajemnicze, ale są czasowe. Jedynie trwają zwykle dłużej niż miłość. Że zaś miłość nie jest namiętnością bezinteresowną, kochanek, który już nie kocha, nie stara się przeniknąć, czemu uboga i lekka kobieta, którą kochał, uparcie odpychała przez całe lata jego i jego dostatek.

Otóż, ta sama tajemnica, która często w sprawach miłości osłania przyczynę katastrof, równie często spowija nagłość pewnych szczęśliwych rozwiązań (takiego na przykład, jakie mi przyniósł list Gilberty). Rozwiązania szczęśliwe, bodaj z pozoru — nie ma bowiem naprawdę szczęśliwych rozwiązań dla uczucia mającego tę właściwość, że wszelkie uczynienie mu zadość przesuwają jedynie ból w inne miejsce. Czasami wszelako następuje pauza i ma się jakiś czas złudzenie zdrowia.

Co się tyczy listu (w którym Franciszka wzbraniała się uznać imienia Gilberty, ponieważ ozdobne „G”, wsparte na pozbawionym kropki „i”, wyglądało na „A”, gdy ostatnią sylabę przedłużały w nieskończoność ząbki zakrętasa), gdyby się chciało szukać racjonalnego wyjaśnienia zwrotu przejmującego mnie taką radością, można by pomyśleć, że go zawdzięczał poniekąd przypadkowi, który na pozór mógł być, przeciwnie, zgubić mnie na zawsze w pojęciu Swannów. Niedługo przedtem zaszedł do mnie Bloch, w chwili gdy profesor Cottard (którego, od czasu jak się trzymałem jego diety, sprowadzono znowu) znajdował się w moim pokoju. Konsultacja była skończona, a Cottard bawił już tylko jako gość, bo go rodzice zatrzymali na obiad. Wśród ogólnej rozmowy, Bloch opowiedział, że podobno pani Swann bardzo mnie lubi; słyszał to od osoby, z którą sąsiedował wczoraj na proszonym obiedzie i która żyje bardzo blisko z panią Swann. Byłbym chciał odpowiedzieć, że się z pewnością myli, przez ten sam skrupuł, który mi kazał oświadczyć panu de Norpois (z obawy, aby mnie pani Swann nie wzięła za kłamcę), że nie znam pani Swann i że z nią nigdy nie rozmawiał. Ale nie miałem odwagi sprostować błędu Blocha, zrozumiałem, że błąd był świadomy; jeżeli Bloch zmyślił słowa, jakich pani Swann nie mogła w istocie powiedzieć, to dlatego, aby oznajmić coś, co sam Bloch uważał za pochlebne dla siebie, a co nie było prawdą, mianowicie że był gdzieś na obiedzie z przyjaciółką tej damy. Otóż, jak pan de Norpois, dowiadując się, że nie znam pani Swann, a pragnąłbym ją poznać, pilnie wystrzegając się wspomnieć jej o mnie, tak Cottard (będący jej lekarzem), wnosząc ze słów Blocha, że ona mnie dobrze zna i ceni, pomyślał, iż powiedzieć jej przy sposobności, że jestem przemyły chłopiec, z którym on jest bardzo blisko, nie zda się na nic mnie, a będzie pochlebne dla niego; dwie ręce, które go skłoniły do wspomnienia o mnie przed Odetą, gdy się nadarzyła sposobność.

Wówczas poznałem to mieszkanie, z którego przenikał aż na schody zapach perfum pani Swann, ale które bardziej jeszcze nasycił wonią osobliwą i bolesny urok wydzielający się z życia Gilberty. Nieubłagany odzwierzy, zmieniony w życzliwą Eumenidę, kiedy go pytał, czy mogę wejść, życzliwym uchyleciem kaszkietu przywykł oznajmiać, że ziszcza moją prośbę. Okna, które, widziane z ulicy, między mnie a nieprzeznaczone dla mnie skarby wstawały swoje błyszczące, dalekie i obojętne spojrzenie, wyobrażające dla mnie spojrzenie samych państwa Swann, teraz, kiedy w pogodny dzień spędziłem całe popołudnie z Gilbertą w jej pokoju, otwierałem je sam, aby wpuścić trochę powietrza

i zarazem aby się wychylić obok Gilberty — o ile to był dzień przyjęć jej matki — oglądając schodzących się gości, którzy często, podnosząc głowę przy wysiadaniu z powozu, pozdrawiali mnie ręką, biorąc mnie za jakiegoś kuzynka pani domu. W chwilach tych warkocz Gilberty dotykały moich policzków. Wydawały mi się, w delikatności swoich naturalnych zarazem i nadnaturalnych włókien, w potęgde swojej artystycznej liścianki, dziełem jedynym, na które zużytkowano sam trawnik Raju. Jakiegoż niebiańskiego zielnika nie dałbym za oprawę nawet ich najmniejszej cząstce! Ale, nie spodziewając się uzyskać prawdziwego pasemka tych warkoczy, gdybym bodaj mógł posiadać ich fotografię, o ileż cenniejszą niż fotografia kwiatków rysowanych przez Leonarda da Vinci! Aby ją uzyskać, rozwinąłem wobec przyjaciół Swannów, a nawet wobec fotografów zabiegi, które nie dały mi tego, czegom pragnął, ale przyniosły mi wiekuiste stosunki z ludźmi bardzo nudnymi.

Wchodziłem do mrocznego przedpokoju, gdzie nieustannie wisiała — groźniejsza i bardziej upragniona niż niegdyś w Wersalu zjawienie się króla — możliwość spotkania państwa Swann i gdzie zazwyczaj, potknąwszy się o olbrzymie wieszadło, siedmioramienne niby świecznik w Piśmie, składałem przeproszenia i ukłony kamerdynerowi, siedzącemu w długiej szarej szacie na drewnianej skrzyni; brałem go w ciemności za panią Swann. Rodzice Gilberty, którzy tak długo nie pozwolili mi jej widywać, teraz — jeżeli jedno z nich przechodziło tamtędy w chwili mego przybycia — nie tylko nie mieli miny groźnej, ale ściskali mi z uśmiechem rękę i mówili:

— Jak się pan *mjewa* — (wymawiali oboje przez *j*, co, jak łatwo pojąć, wróciwszy do domu sililem się naśladować w nieustannym i rozkosznym ćwiczeniu). — Czy Gilberta wie, że pan przyszedł? Zatem, do zobaczenia.

Co więcej, same te podwieczorki, które Gilberta wyprawiała dla przyjaciółek i które tak długo zdawały mi się jedną z najbardziej nieprzebranych przeszkód między nami, stały się teraz sposobnością widzenia się, o czym — jako dość świeżego jeszcze znajomego — zawiadamiała mnie pisemnie, za każdym razem na innym papierze listowym. Raz był ozdobiony błękitnym wypukłym pieskiem nad humorystycznym podpisem angielskim oraz wykrzyknikiem; to znów kotwicą; albo cyfrą „G.S.”, przesadnie wydłużoną w prostokąt na całą wysokość stronicy, lub wreszcie imieniem *Gilberta*, to skreślonym na ukos w rogu złotymi literami, które naśladowały jej podpis i tworzyły zakrętą nad czarno odcisniętym otwartym parasolem; to ujętym w monogram w kształt chińskiego kapelusza, zawierający wszystkie głoski imienia wielkimi literami, z których nie można było odczytać ani jednej. W końcu, ponieważ seria papierów listowych Gilberty, mimo iż liczna, nie była nieskończona, po szeregu tygodni ujrzałem, że wraca ten, który nosił, jak za pierwszym razem, godło: *Per viam rectam* nad rycerzem w hełmie, w medalionie z oksydowanego srebra. I każdy papier miał swój specjalny dzień, wedle pewnego symbolicznego klucza, jak myślałem wówczas, ale teraz sądzę, iż dlatego, że Gilberta starała się spamiętać gatunki papieru użyte w swojej korespondencji, tak aby, o ile można, nie pisać nigdy na tym samym, przynajmniej do osób, dla których zadawała sobie fatygę.

Ponieważ wskutek odmiennych godzin lekcji jedne przyjaciółki Gilberty żegnały się już w chwili, gdy inne dopiero przybywały, już od schodów słyszałem dobywający się z przedpokoju szmer głosów, który, mocą wzruszenia, o jakie mnie przyprawiała ta imponująca uroczystość, zrywał nagle, nim wszedłem do sieni, więzy łączące mnie jeszcze z poprzednim życiem i odejmował mi zgoła pamięć o tym, że mam zdjąć szalik, skoro się znajdę w cieple i uważać na godzinę, aby nie wrócić za późno.

Schody te, całe z drzewa, jak je robiono wówczas w niektórych czynszowych domach w owym stylu Henri II, który był długi czas ideałem Odety, a z którego miała niebawem wyrósć, opatrzone tabliczką bez odpowiednika w naszym domu, gdzie czytało się słowa: „Nie wolno się posługiwać windą do jazdy w dół”, zdawały mi się czymś tak wspaniałym, że opisałem je rodzicom jako starożytne schody, przywiezione z bardzo daleka przez pannę Swanna. Moja miłość prawdy była taka, że nie wahałbym się podać tego objaśnienia, nawet gdybym wiedział, że jest fałszywe, ponieważ ono jedno mogło narzucić rodzicom mój własny szacunek dla godności schodów państwa Swann. Tak wobec ignoranta niezdolnego pojąć, na czym polega geniusz wielkiego lekarza, uważalibyśmy za właściwe nie zdradzić, że on nie umie uleczyć kataru. Że jednak nie miałem żadnego zmysłu spostrzegawczego, nie znając na ogół ani nazwy, ani gatunku rzeczy, na które patrzyłem,

rozumiejąc tylko, iż skoro coś tyczy się Swannów, musi być nadzwyczajne, nie byłem pewny, czym popełnił kłamstwo, informując rodziców o artystycznej wartości oraz o egzotycznym pochodzeniu tych schodów. Nie wydawało mi się to pewne, ale musiało mi się wydawać prawdopodobne, bo czułem, że się mocno rumienię, kiedy ojciec przerwał mi, mówiąc: „Znam te domy, widziałem jeden taki, wszystkie są do siebie podobne; Swann zajmuje po prostu parę pięter, to Berlier budował te kamienice”. Dodał, że chciał wynająć mieszkanie w jednym z tych domów, ale się rozmyślił, bo rozkład okazał się niewygodny i wejście nie dość widne. Tak mówił ojciec, ale ja uczułem instynktownie, że mój intelekt powinien dla uroku Swannów i dla mego szczęścia uczynić wszystkie możliwe ofiary; jakoż, mocą wewnętrznego nakazu, mimo to com usłyszał, odsunąłem na zawsze od siebie — niby dewot *Życie Jezusa* Renana — destrukcyjną myśl, że dom Swannów jest zwyczajnym mieszkaniem, w którym moglibyśmy mieszkać.

Tak w owe dnię podwieczorków, wznosząc się po schodach stopień po stopniu, już wyzuty z myśli i pamięci, będąc jedynie igraszką najniższych refleksów, docierałem do strefy, w której dawał się czuć zapach pani Swann. Zdawało mi się, że już widzę majestat czekoladowego tortu, otoczonego kręgiem talerzyków z ptifurami oraz szarych serwetek w deseń, wymaganych przez etykietę i właściwych domowi Swannów. Ale ta nieodmienna i uregulowana całość zdawała się, niby konieczny wszechświat kantowski, zależeć od najwyższego aktu wolności. Skorośmy się bowiem znaleźli wszyscy w saloniku Gilberty, naraz, patrząc na zegarek, Gilberta mówiła:

— Słuchajcie państwo, zapomniałam już, kiedy jadłam śniadanie, obiad aż o ósmej, miałabym ochotę coś przetrącić. Co wy na to?

I wprowadzała nas do jadalni, ciemnej jak wnętrze azjatyckiej świątyni pędzla Rembrandta, gdzie kunsztownie zbudowany tort, równie pocziwy i dobroduszny jak imponujący, zdawał się figurować tam na wszelki wypadek, jak co dzień, w razie gdyby Gilbertce przyszła ochota pozbawić go jego czekoladowych blanków i zwalić niby bastiony pałacu Dariusza jego mury o stromych i dzikich skarpach, wypalone w piecu. Co więcej, aby przystąpić do zniszczenia tej wypieczonej Niniwy, Gilberta nie radziła się jedynie własnego apetytu; wywiadywała się także o mój, wydobywając dla mnie ze zwałonej budowli całą ścianę lakierowaną i przegrodzoną szkarłatnymi owocami, w guście Wschodu. Pytała mnie nawet, o której godzinie rodzice moi jedzą obiad, jak gdybym mógł to jeszcze wiedzieć, jak gdyby ogarniające mnie wzruszenie pozwoliło przetrwać w mojej pustej pamięci i sparaliżowanym żołądku wrażeniu sytości lub głodu, idei obiadu lub obrazowi rodziny. Na nieszczęście, paraliż ten był tylko chwilowy. Miał przyjść moment, gdy trzeba będzie strawić ciastka, którem nabierał machinalnie na talerz... Ale moment ten był jeszcze daleki. Na razie Gilberta przyrządzała mi „moją herbatę”. Piłem ją bez końca, gdy jedna jedyna filiżanka odbierała mi sen na dwadzieścia cztery godziny! Toteż matka zwykła była mówić:

— To przykre, ten małec nie może iść do Swannów, żeby nie wrócić chory.

Ale czyż ja bodaj wiedziałem, gdym był u Swannów, że piję herbatę? Gdybym wiedział, byłbym ją pił tak samo, bo przyjąwszy nawet, że bym odzyskał na chwilę poczucie teraźniejszości, nie byłoby mi to wróciło wspomnienia przeszłości i przewidywania przyszłości. Wyobraźnia moja nie była zdolna osiągnąć odległego czasu, kiedy mi przyjdzie położyć się do łóżka i zapragnąć snu.

Nie wszystkie przyjaciółki Gilberty znajdowały się w tym stanie upojenia, w którym decyzja jest niemożliwa. Niektóre odmawiały herbaty! Wówczas, Gilberta wygłaszała frazes bardzo rozpowszechniony w owej epoce:

— Stanowczo nie mam powodzenia z moją herbatą. Dostaję kosza.

I aby tym skuteczniej usunąć charakter uroczystości, burzyła porządek krzeseł dokoła stołu:

— To wygląda jak obiad weselny; mój Boże, jaka ta służba jest głupia.

Chrupała ciasteczka, siedząc bokiem na krześle w formie „x” ustawionym w poprzek. Nawet, jak gdyby Gilberta mogła mieć do rozporządzenia tyle ptifurów bez zgody matki, kiedy pani Swann — której „żurek” schodził się zazwyczaj z podwieczorkami Gilberty — odprowadziwszy jakiegoś gościa, wchodziła w chwile potem, pędem, czasem ubrana w niebieską aksamitną suknię, często w czarną atlasową z białymi koronkami, mówiła ze zdziwioną miną:



— O, to dobrze wygląda, co wy tutaj jecie, aż mnie przychodzi apetyt, kiedy was widzę, jak chrupiecie keksy.

— Wybornie, mam, zapraszamy cię — odpowiadała Gilberta.

— Ależ nie, skarbie, co by powiedzieli moi goście: mam jeszcze panią Trombert, panią Cottard i panią Bontemps; wiesz, że ta kochana pani Bontemps nie ma zwyczaju siadywać krótko, a dopiero co przyszła. Co by powiedzieli wszyscy ci zacni ludzie, widząc, że się nie zjawiam. O ile nikt więcej nie przyjdzie, wrócę tu pogawędzić z wami (co mnie ubawi o wiele więcej), kiedy one pójdą. Myślę, że zasłużyłam na trochę spokoju, miałam czterdzieści pięć osób, a z tych czterdzieści dwie mówiły o obrazie Gérôme'a! Ale niech pan przyjdzie którego dnia — (mówiła do mnie) — do Gilberty na *swoją* herbatę; przyrządzi ją panu tak, jak pan lubi, tak jak pan ją pija w swoim małym „studio” — dodawała pani Swann, pomykając do gości i tak jak gdyby moje przyzwyczajenia, których przyszedłem szukać w tym tajemniczym świecie, były czymś dobrze znanym. (Gdybym nawet miał zwyczaj pijania herbaty, co się tyczy „studio”, byłem w wielkiej niepewności, czy je posiadam). — Kiedy pan przyjdzie? Jutro? Będą na pana czekały *tosty* równie dobre jak u Colombina. Nie? Jest pan niegodziwy — powiadała pani Odeta, od czasu bowiem, jak sama zaczynała mieć „salon”, naśladowała wzięcie pani Verdurin, jej tonik mizdrzącego się despotyzmu. Ponieważ „tosty” były dla mnie czymś równie nieznanym jak Colombin, obietnica ta niewiele mogłaby przydać mojej pokusie. Osobliwsze wyda się, że nie zrozumiał w pierwszej chwili, o kim mówi pani Swann, kiedy usłyszał, jak wychwała przede mną naszą starą „*nurse*”. (Dziś wszyscy mówią w ten sposób, może i w Combray). Nie umiałem po angielsku, ale zrozumiałem rychło, że to słowo oznacza Franciszkę. Ja, który na Polach Elizejskich tak się bałem złego wrażenia, jakie Franciszka może sprawić, dowiedziałem się od pani Swann, że wszystko, co Gilberta opowiadała o mojej „*nurse*”, obudziło w niej i w jej mężu sympatię do mnie. „Czuć, że taka jest panu oddana, że jest tak na miejscu”. (Natychmiast zmieniłem całkowicie swoje pojęcie o Franciszce; posiadać guwernantkę strojną w gumowy płaszcz i w piórko nie wydało mi się już tak konieczne). Wreszcie z kilku słów, jakie się wymknęły pani Swann o pani Blatin, której uznawała życzliwość, ale której wizyt się bała, zrozumiałem, że osobiste stosunki z tą damą nie byłyby dla mnie równie cenne, jak przypuszczałem i nie poprawiłyby w niczym mojej sytuacji u Swannów.

Jeżeli już zacząłem zgłębiać, z owym drżeniem szacunku i radości, czarodziejską dziedzinę, która, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, otwarła przede mną swoje zamknięte dotąd aleje, czyniłem to jedynie w charakterze przyjaciela Gilberty. Królestwo, do którego mnie dopuszczono, samo mieściło się w innym, jeszcze bardziej tajemniczym, gdzie Swann i jego żona wiedli swoje nadprzyrodzone życie i dokąd kierowali się, uściśnawszy mi rękę, kiedy się mijali ze mną w hallu. Ale niebawem wniknąłem i do serca sanktuarium. Na przykład Gilberty nie było, a państwo Swann byli w domu. Pytali, kto dzwonił, i słysząc, że to ja, prosili, abym wstąpił do nich na chwilę, pragnąc, bym użył, w tym lub innym sensie i w tej lub innej sprawie, swojego wpływu na ich córkę. Przypomniałem sobie ów list, tak znaczący, tak przekonujący, którym niegdyś napisał do Swanna i na który on nie raczył nawet odpowiedzieć! Podziwiałem bezsilność rozumu, logiki i serca, gdy chodzi o to, aby spowodować najmniejszą odmianę, aby rozwiązać bodaj jedną z owych trudności, które później życie, nie wiadomo jak, rozwiązuje tak łatwo. Moja nowa rola przyjaciela Gilberty, mającego na nią znakomity wpływ, dawała mi obecnie te same przywileje, co gdybym, kolegując w szkole jako prymus z jakimś królewskim synem, przypadkowi temu zawdzięczał wstęp do Pałacu i audiencje w sali tronowej. Z nieskończoną dobrocią i tak jakby nie był przeciążany dostojnymi zajęciami, Swann wpuszczał mnie do swojej biblioteki i pozwalał mi całą godzinę mętnym bełkotem i wystraszonym milczeniem, przerywanym krótkimi i bezładnymi wybuchami odwagi, odpowiadać na słowa, z których wzruszenie nie pozwalało mi zrozumieć nic a nic; pokazywał mi dzieła sztuki i książki, mogące mnie, jak sądził, zainteresować. Co do mnie, z góry byłem przeświadczony, że przedmioty, które mi pokazuje, pięknoscią swoją nieskończenie przewyższają wszystko, co posiada Luwr i Biblioteka Narodowa, ale nie byłem zdolny na nie patrzeć.

W tych chwilach kamerdyner Swanna sprawiłby mi przyjemność, każąc mi oddać sobie zegarek, szpilkę od krawata, buciki i podpisać akt, w którym uznałbym go swoim spadkobiercą: wedle pięknego popularnego wyrażenia, którego autor — jak twórcy

najsłynniejszych epopei — jest nieznan, ale które, jak one, i wbrew teorii Wolfa, z pewnością miało autora (jeden z owych twórczych i skromnych duchów, jakie zjawiają się co rok, robiąc odkrycia takie jak „dawać nazwisko epoce”, ale nie utrwalając własnego nazwiska) — *nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje*. Co najwyżej, dziwiłem się, kiedy wizyta się przeciągała, do jak nikłej realizacji, do jakiego braku szczęśliwej konkluzji wiodły te godziny przeżyte w zaczarowanej krainie. Ale mój zawód nie płynął ani z ubóstwa pokazywanych mi arcydzieł, ani z niemożności zatrzymania na nich roztargnionego wzroku. Bo nie wnętrza piękność rzeczy czyniła mi pobyt w gabinecie Swanna czymś cudownym, ale związane z tymi rzeczami — mogłyby być najbrzydsze w świecie! — swoiste, smutne i rozkoszne uczucie, które umiejscawiałem w nich od lat i które nasycalo je jeszcze. Toż samo mnogość zwierciadeł, srebrnych szczonek, ołtarzyków św. Antoniego Padewskiego rzeźbionych i malowanych przez największych artystów, a przyjaciół Odety, nie grało żadnej roli w poczuciu mojej własnej niegodności, a jej królewskiej wspaniałomyślności. Bo takiego uczucia doznawałem, kiedy pani Swann przyjmowała mnie przez chwilę w pokoju, gdzie trzy piękne i imponujące istoty — pierwsza, druga i trzecia garderobiana — przygotowywały z uśmiechem cudowne toalety, i dokąd, na rozkaz wyrażony przez kamerdynera w krótkich spodniach („jaśnie pani pragnie powiedzieć słówko”), kierowałem się krętą ścieżką korytarza, przesyconego na odległość szacownymi esencjami, jakie bez przerwy słały z gotowalni swoje balsamiczne wonie.

Kiedy pani Swann wróciła do gości, słyszeliśmy jeszcze jej głos i śmiech, bo nawet wobec dwóch osób i tak jakby miała przed sobą wszystkich *wiernych*, podnosiła głos, rzucała słówka, tak jak często w „małym klanie” robiła to przy Odecie „pryncypała” w chwili, gdy „kierowała rozmową”. Najbardziej lubimy się posługiwać wyrażeniami, których świeżo pożyczaliśmy od innych, przynajmniej przez jakiś czas, toteż pani Swann wybierała albo zwroty, przejęte od dystyngowanych ludzi, z którymi mąż musiał ją w końcu zapoznać (od nich zapożyczyła pewne maniery składni), to znów od osób pospolitszych (na przykład „to jeszcze jest nic”, ulubione wyrażenie jednej z przyjaciółek Odety). Zwroty te starała się lokować we wszystkich historyjkach, które, zwyczajem wyniesionym z „małego klanu”, lubiła opowiadać. Mówiła chętnie później: „Lubię bardzo tę historyjkę”, „och, przynajmniej, to jest *piękna* historia”, co przejęła przez męża od Guermantów, których nie znała.

Pani Swann opuściła jadalnię, ale mąż jej, który właśnie wrócił z miasta, zjawił się z kolei u nas.

— Nie wiesz, czy mama jest sama, Gilberto?

— Nie, ma jeszcze gości, papuśku.

— Jak to, jeszcze, o siódmej! To przerażające. Biedna kobieta musi być złamana. To okropne.

(W domu słyszałem zawsze słowo *okropne* wymawiane zwyczajnie, z akcentem na przedostatniej, ale oboje państwo Swann akcentowali „o-kropne”, na pierwszej).

— Pomyśl pan, od drugiej popołudniu! — ciągnął, zwracając się do mnie. — A Kammilla mówiła mi, że między czwartą a piątą było ze dwanaście osób. Co ja mówię dwanaście, zdaje mi się, że powiedziała czternaście. Nie, dwanaście; sam już nie wiem. Wracając, nie pamiętałem, że to żurek Odety i kiedym ujrzał wszystkie te powozy przed bramą, myślałem, że to jakieś wesele. I od czasu, jak jestem w bibliotece, dzwonek nie ustał ani na chwilę, dają słowo, głowa mnie od tego boli. Dużo ich jest tam jeszcze?

— Nie, tylko dwie.

— Nie wiesz kto?

— Pani Cottard i pani Bontemps.

— A! żona szefa kancelarii ministra robót publicznych.

— Wiem, że jej mąż jest czymś tam w ministerium, ale nie wiem dobrze czym — mówiła Gilberta, udając dziecko.

— Jak to, mała gąsko, mówisz tak, jakbyś miała dwa lata. Co ty pleciesz: „czymś tam w ministerium”? Jest po prostu szefem kancelarii, szefem całego kramu. Ależ nie, gdzie ja mam głowę, jestem tak samo nieprzytomny jak ty. Nie jest szefem kancelarii, ale *dyrektorem* kancelarii.

— Ja tam nie wiem; więc to jest dużo być dyrektorem kancelarii? — odpowiadała Gilberta, która nie traciła nigdy sposobności zmanifestowania obojętności na wszystko,

co lechtało próżność jej rodziców (mogła zresztą myśleć, że dodaje jedynie blasku tak świetnej znajomości, nie przywiązując do niej na pozór zbytnej wagi).

— Jak to, czy to dużo — krzychał Swann, który wolał język bardziej wyrazisty niż tę skromność, mogącą mi zostawić jakieś wątpliwości. — Ależ to po prostu pierwszy po ministrze! To nawet więcej niż minister, on robi wszystko. Zdaje się zresztą, że to jest głowa, człowiek pierwszorzędny, jednostka zupełnie wybitna. Jest oficerem Legii Honorowej. Przemięty człowiek, nawet bardzo przystojny.

(Żona pana Bontemps wyszła zresztą za niego wbrew wszystkiemu, dlatego że to był „człowiek czarujący”. Miał — co wystarczy, aby stworzyć rzadką i subtelną całość — jasną jedwabistą brodę, regularne rysy, nosowy głos, przykry oddech i szklane oko).

— Powiem panu — dodał Swann, zwracając się do mnie — że bawi mnie bardzo widzieć tych ludzi w obecnym rządzie, bo to są Bontemps z rodziny Bontemps-Chenut, typ reakcyjno-klerikalnego mieszczaństwa o ciasnych poglądach. Pański zacny dziadek znał dobrze, przynajmniej ze słyszenia i z widzenia, starego Chenut, który, mimo że bardzo bogaty na swoje czasy, dawał tylko jednego sou napiwku woźnicy; a także barona Bréau-Chenut. Cały majątek przepadł w krachu Union Générale (pan jest za młody, aby to móc pamiętać) no i odbudowali się, jak mogli.

— To wuj jednej dziewczynki, która chodziła ze mną na pensję, o parę klas niżej, sławnej „Albertyny”. Będzie z pewnością bardzo „fist”, ale na razie jest trochę dziwna.

— Zdziwiająca jest ta moja córka, zna wszystkich.

— Ja jej nie znam. Widywałam ją tylko w przelocie; wciąż się słyszało Albertyna to, Albertyna owo. Ale znam panią Bontemps i też mi się nie podoba.

— Zupełnie nie masz racji, jest miła, ładna, inteligentna. Jest nawet dowcipna. Pójdę się z nią przywitać: zapytam się, czy jej mąż przypuszcza, że będziemy mieli wojnę i czy można liczyć na króla Teodozjusza. On to musi wiedzieć, nieprawdaż, skoro zasiada w radzie bogów?

Nie w ten sposób przemawiał Swann niegdyś; ale któż nie widział księżniczek krwi bardzo prostych w obejściu, jeżeli w dziesięć lat później zdarzy się im uciec z lokajem, kiedy się starają odzyskać miejsce w świecie i czują, że świat niechętnie u nich bywa, jak przybierają od razu ton starych „pił”, i gdy ktoś cytuje jakąś modną księżnę, skwapliwie mówią: „Była wczoraj u mnie” i „Och, ja żyję bardzo na uboczu”. Toteż zbyteczne jest obserwować obyczaje, skoro je można wywieść z praw psychologicznych.

Swannowie przyswoili sobie tę wadę ludzi, u których mało kto bywa; wizyta, zaproszenie, nawet grzeczne słówko wpływowszych nieco osób, były dla nich wydarzeniem, któremu radzi byli dać rozgłos. Jeżeli zły los chciał, aby Verdurinowie byli w Londynie, gdy Odeta miała jakiś efektowniejszy obiad, starali się, aby przez wspólnego przyjaciela wiadomość o tym doszła panią Verdurin kablem przez La Manche. Nawet pochlebnych listów, telegramów otrzymanych przez Odetę, Swannowie niezdołni byli zachować dla siebie. Powtarzało się je przyjaciółom, puszczało się je w kurs. W ten sposób salon Swannów podobny był do owych hoteli w miejscach kąpielowych, gdzie wywiesza się na ścianie depesze.

Zresztą osoby znające dawnego Swanna nie tylko poza „światem”, jak ja go znałem, ale w świecie Guermantów, który, wyjąwszy altessy i diuszessy, był niezmiernie wymagający na punkcie inteligencji i wdzięku; gdzie wydawano wyrok banicji na ludzi wybitnych, uznanych przez ów świat za nudnych i pospolitych; te osoby mogłyby się zdziwić, stwierdzając, że dawny Swann przestał być nie tylko dyskretny, kiedy mówił o swoich stosunkach, ale przestał być trudny, gdy chodziło o ich wybór. W jaki sposób pani Bontemps, tak płaska, tak jadowita, nie działała mu na nerwy? Jak mógł twierdzić, że jest miła? Wspomnienie świata Guermantów powinno było uchronić go od takich pomyłek; w rzeczywistości sprzyjało im. U Guermantów, w przeciwieństwie do trzech czwartych kół światowych, był smak, smak wyrafinowany nawet, ale był też snobizm, dopuszczający przerw w stosowaniu smaku. Jeżeli chodziło o kogoś, kto nie był tej koterii nieodzowny, o jakiegoś ministra spraw zagranicznych, nadętego trochę republikanina, o gadatliwego akademika, ów smak obracał się wręcz przeciw niemu; Swann ubolewał nad panią de Guermantes, że musi cierpieć przy stole sąsiedztwo podobnych figur w jakiejś ambasadzie; tysiąc razy przekładano nad nich światowego bywalca, to znaczy człowieka z klanu Guermantów, zero, ale posiadającego „ducha Guermantów”, człowieka z tej samej kapliczki.

Obyczaje, Pozycja społeczna

Jedynie gdy jakaś wielka księżna, jakaś księżniczka krwi bywała często na obiadach u pani de Guermantes, wówczas stawała się i ona częścią tej kapliczki, nie mając po temu żadnych praw, nie posiadając nic z jej ducha. Ale z chwilą, gdy ją przyjmowano, starano się — z całą naiwnością ludzi światowych — wmówić w siebie, że jest miła, skoro nie można było sobie powiedzieć, że się ją przyjmuje dlatego, bo jest miła. Skoro taka królewska wysokość opuściła salon, Swann, przychodząc z pomocą pani de Guermantes, powiadał:

— W gruncie to dobra kobiecina, ma nawet pewne poczucie humoru. Mój Boże, nie sądzę, aby zgłębiła *Krytykę czystego rozumu*, ale nie jest przykra.

— Jestem całkowicie pańskiego zdania — odpowiadała księżna Oriana. — Do tego była dziś onieśmielona, ale zobaczycie, że ona może być urocza.

— Jest o wiele mniej nudna niż pani X (żona gadatliwego akademika, kobieta naprawdę niepospolita), która cytuje wam dwadzieścia tomów!

— Ależ nie może być najmniejszego porównania!

Swann przyswoił sobie tedy u księżnej Oriany zdolność mówienia takich rzeczy i to mówienia szczerze; i zachował tę zdolność. Posługiwał się nią teraz w stosunku do ludzi, którzy u niego bywali. Starał się spostrzegać i lubić w nich pewne przymioty, które wszelka istota ludzka objawia, jeśli się na nią patrzy życzliwie, nie zaś z wybrednym grymasem; podkreślał zalety pani Bontemps, jak niegdyś zalety księżnej parmeńskiej, którą powinno się było wykluczyć z kółka Guermantów, gdyby ono nie zachowało uprzywilejowanego wstępu dla księżniczek krwi i gdyby w stosunku do nich brano pod uwagę jedynie inteligencję i wdzięk. Widzieliśmy zresztą w swoim czasie, że Swann skłonny był (stosował to obecnie jedynie konsekwentnie) wymieniać swoją towarzyską sytuację na inną, która mu w danych okolicznościach bardziej odpowiadała. Jedynie ludzie niezdolni rozłożyć w swojej percepcji tego, co na pierwszy rzut oka wydaje się nierozdzielne, myślą, iż sytuacja zrosnięta jest z osobą. Ta sama jednostka, oglądana w kolejnych momentach życia, zanurza się na rozmaitych stopniach drabiny społecznej w środowiskach, które niekoniecznie są coraz to wyższe; i za każdym razem kiedy, w odmiennym okresie egzystencji, zawiązujemy lub nawiązujemy węzły z pewnym środowiskiem, kiedy czujemy się tam dobrze, zaczynamy zupełnie naturalnie przywiązywać się do niego, zapuszczając tam korzenie.

Co się tyczy pani Bontemps, sądzę także, iż Swann, mówiąc o niej z takim naciskiem, myślał z pewną przyjemnością, iż rodzice moi dowiedzą się, że pani Bontemps bywa u jego żony. Prawdę mówiąc, nazwiska osób, które pani Swann stopniowo pozyskiwała, u nas w domu więcej budziły ciekawości niż wzniecały podziwu. Słyszając o pani Trombert, matka mówiła:

— A, to nowa zdobycz, która jej ściągnie inne.

I jak gdyby przyrównując do wojny kolonialnej agresywny nieco, szybki i gwałtowny sposób, w jaki pani Swann zdobywała swoje znajomości, mama dodawała:

— Teraz, kiedy Trombertowie są ujarzmieni, sąsiednie plemiona nie omieszkają się poddać.

Kiedy matka spotkała panią Swann na ulicy, powiadała nam za powrotem:

— Widziałam panią Swann w pełnym rynsztunku, musiała ciągnąć na jakąś zwycięską wyprawę na Masseszutów, Syngalezów lub Trombertów.

I kiedy wymieniałem osoby, które widywałem w tym mieszanym nieco i sztucznym środowisku, dokąd często ściągano owe osoby z różnych światów i z niejakim trudem, mama odgadywała natychmiast ich pochodzenie. Mówiąc o nich niby o drogo okupionych trofeach, dodawała:

— Owoc wyprawy tam a tam.

Co się tyczy pani Cottard, ojciec dziwił się, że pani Swann mogła widzieć jakąś korzyść w pozyskaniu tej nieeleganckiej mieszczki, i powiadał: „Mimo sytuacji profesora, wyznaję, że nie rozumiem”. Matka, przeciwnie, rozumiała bardzo dobrze; wiedziała, że znaczna część przyjemności, jaką kobieta znajduje w tym, aby się wedrzeć w środowisko odmienne od tego, w którym żyła dawniej, byłaby dla niej stracona, gdyby nie mogła poinformować swoich dawnych znajomych o nowych, stosunkowo świetniejszych znajomościach, jakimi ich zastąpiła. Do tego trzeba świadka, którego się wpuszcza w ten nowy i rozkoszny świat, niby we wnętrze kwiatu brzęczącego i lotnego owada, który potem, w miarę swoich wizyt, rozpuści — taką ma się przynajmniej nadzieję — nowinę,

utajony załówek zazdrości i podziwu. Pani Cottard, jak stworzona do tej roli, należała do owej specjalnej kategorii gości, których mama, mająca pewne rysy humoru swego ojca, nazywała: „Przechodniu, powiedz Sparcie...”. Zresztą — poza inną racją, o której dowiedziano się aż w wiele lat później — pani Swann, zapraszając tę przyjaciółkę, życzliwą, nienarzucającą się i skromną, nie potrzebowała się obawiać, że wprowadza do siebie, na swoje świetne „żurki”, zdrażczynię lub rywalkę. Znała olbrzymią liczbę kielichów mieszczących, które ta czynna robotnica raz uzbrojona w egretkę i w *porte-cartes* — mogła odwiedzić w ciągu jednego popołudnia. Znała jej siłę zapylającą i opierając się na rachunku prawdopodobieństwa, miała prawo sądzić, że niemal z pewnością ten czy ów stały gość Verdurinów dowie się już na trzeci dzień, iż gubernator Paryża rzucił bilety pani Swann, albo że sam pan Verdurin usłyszy, iż pan Le Hault de Pressagny, prezes Zawodów Hipiczych, zabrał oboje Swannów na galę dla króla Teodozjusza. Pani Swann wyobrażała sobie Verdurinów poinformowanych jedynie o tych dwóch pochlebnych dla niej wydarzeniach, gdyż poszczególne materializacje, pod którymi wyobrażamy sobie i ścigamy sławę, są ograniczone wskutek niemocy naszego umysłu, niezdolnego wyroić sobie naraz wszystkich form, których — wedle naszych ryczałtowych nadziei — sława nie omieszka dla nas przybrać.

Zresztą pani Swann uzyskiwała sukcesy jedynie w tak nazwanym „świecie oficjalnym”. Kobiety modne nie bywały u niej. Nie żeby je wystraszyła obecność republikańskich świeczników. Za czasu mego dzieciństwa wszystko, co należało do sfery konserwatywnej było światowe, w szanującym się zaś salonie niepodobna było przyjmować republikanina. Osoby żyjące w takim środowisku wyobrażały sobie, że niemożliwość zaproszenia kiedykolwiek „oportunisty”, a tym bardziej okropnego radykała, była rzeczą, która przetrwa wiecznie, jak lampy naftowe i omnibusy konne. Ale, podobne kalejdoskopom obracającym się od czasu do czasu, społeczeństwo przetrząsa składniki na pozór niewzruszone i tworzy inny deseń. Nie zdążyłem jeszcze przystąpić do pierwszej komunii, kiedy dobrze myślące damy ze zdumieniem spotkały na jakiejś wizycie elegancką Żydówkę. Te przemieszczenia kalejdoskopu wynikają z tego, co pewien filozof nazwałby zmianą kryterium. W epoce nieco późniejszej od tej, w której zacząłem bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa przyniosła nowe kryterium, i kalejdoskop przesyłał jeszcze raz swoje barwne szkielec. Wszystko, co trąciło Żydem spadło gwałtownie — nawet elegancka dama — a pokątni nacjonaliści wzniesli się, zajmując miejsce tamtych. Najświetniejszym salonem Paryża stał się salon pewnego austriackiego księcia, arcykatolika. Gdyby zamiast sprawy Dreyfusa przyszła wojna z Niemcami, kalejdoskop zmieniłby się w innym sensie. Żydzi, okazawszy się ku powszechnemu zdumieniu patriotami, zachowaliby swoją sytuację, a nikt by już nie zechciał chodzić do księcia austriackiego, ani nawet przyznać się, że tam kiedykolwiek bywał.

To nie przeszkadza, że za każdym razem, kiedy społeczeństwo jest chwilowo nieruchome, ci co w nim żyją, wyobrażają sobie, że już nie nastąpi żadna zmiana, tak samo jak, pamiętając początki telefonu, nie chcą wierzyć w samoloty. Zarazem felietonowi filozofowie zohydzają poprzedni okres, nie tylko jego rodzaj zabaw, który się im wydaje szczytem zepsucia, ale także dzieła artystów i myślicieli, pozbawionych już w ich oczach wszelkiej wartości, jak gdyby one były nierozzerwalnie złączone z kolejnymi odmianami światowej płochości. Jedyną rzeczą, która się nie zmienia, jest każdorazowe uczucie, że „coś się zmieniło we Francji”. W chwili, gdym zaczął bywać u pani Swann, sprawa Dreyfusa jeszcze nie wybuchła i niektórzy wielcy Żydzi byli bardzo potężni; ale nikt nie był potężniejszy niż sir Rufus Israels, którego żona, lady Israels, była ciotką Swanna. Osobiście *lady* nie miała stosunków tak wytwornych jak jej siostrzeniec, który znowuż, nie lubiąc tej ciotki, nigdy zbytnio nie pielęgnował tego krewieństwa, mimo że prawdopodobnie miał być jej spadkobiercą. Ale to była jedyna z krewnych Swanna mająca świadomość jego światowej pozycji, gdy inni zachowali w tej mierze niewiedzę, będącą długo naszym udziałem. Kiedy w danej rodzinie jeden z jej członków wzniesie się w wielki świat — co się jemu samemu wydaje czymś jedynym, zanim z perspektywy dziesięciu lat stwierdzi, że tego samego dokazał na inny sposób i z innych racji niejeden towarzysz jego młodości — stwarza dokoła siebie jakby strefę cienia. Owa *terra incognita* jest bardzo widoczna w swoich najmniejszych odcieniach dla wszystkich, co ją zamieszkują, ale jest jedynie nocą i nicością dla tych, którzy w nią nie wchodzą i którzy, ocierając się o nią,

nie podejrzewają tuż obok siebie jej istnienia. Ponieważ żadna agencja Havasa nie objaśniła kuzynki Swanna o jego stosunkach, przeto (przed jego okropnym małżeństwem, oczywiście) opowiadano sobie z pobłażliwym uśmiechem na obiadach rodzinnych, że się „cnotliwie” obróciło niedzielę na wizytę u „kuzynka Karola”, którego, uważając go za nieco zawistnego ubożego krewnego, nazywano dowcipnie, przez aluzję do tytułu Balzaka, „Le Cousin Bête”. Ale lady Israels wiedziała doskonale, kim są osoby szanujące Swanna przyjaźnią, o którą była zazdrosna. Rodzina jej męża, mniej więcej równoznaczna z Rotszyldami, prowadziła od kilku pokoleń interesy książąt Orleanu. Lady Israels, osoba bardzo bogata, miała wielki wpływ i użyła ich na to, aby nikt z jej znajomych nie przyjmował Odety. Jedną osobą nie usłuchała jej potajemnie: hrabina de Marsantes. Otóż nieszczęście chciało, że gdy Odeta była z wizytą u pani de Marsantes, prawie równocześnie weszła tam lady Israels. Pani de Marsantes była jak na szpilkach. Z tchórzostwem ludzi, którzy przecież mogliby sobie na wszystko pozwolić, nie odezwała się ani razu do Odety, co nie zachęciło pani Swann do wciskania się w sfery niestanowiące zresztą bynajmniej świata, gdzie lubiłaby być. W swojej zupełnej obojętności na Faubourg Saint-Germain Odeta nadal była ciemną kokotką, bardzo w tym różną od mieszczańskich w najdrobniejszych szczegółach genealogii; od owych ludzi, którzy lekturą starych pamiętników oszukują żądze arystokratycznych stosunków, skoro im ich życie realne nie dozwala. Z drugiej strony, Swann był z pewnością nadal amantem, któremu wszystkie te właściwości dawnej kochanki wydają się miłe lub niewinne; często bowiem słyszałem, jak żona jego wygłaszała istne herezje światowe, on zaś (przez resztkę czułości, przez lekceważenie lub przez lenistwo i obojętność na jej braki) nie starał się ich prostować. Może była to również forma owej prostoty, która nas zmyliła w Combray i która sprawiała obecnie, że podtrzymując wciąż, przynajmniej na własny rachunek, znajomości bardzo świetne, Swann nie lubił, aby w rozmowie, w salonie jego żony, wydawało się, że do nich przywiązuje wagę. Miały zresztą dla Swanna mniej wagi niż kiedykolwiek, ile że środek ciężkości jego życia przesunął się.

Bądź jak bądź, nieświadomość Odety w kwestiach światowych była taka, że, jeżeli nazwisko księżnej Marii de Guermantes zjawiało się w rozmowie po nazwisku diuszessy<sup>44</sup> Oriany, jej kuzynki, Odeta mówiła: „A, tamci są książęta, awansowali!”. Jeżeli ktoś powiedział „*prince*”, mówiąc o diuku de Chartres, ona poprawiała: „*Duc*, on jest *duc* de Chartres, a nie *prince*”. Na księcia Orleanu, syna hrabiego Paryża, mówiła: „To zabawne, syn jest więcej niż ojciec”, dodając jako anglomanka: „Gubi się człowiek w tych *Royalties*”.

Swann był zresztą ślepy na punkcie Odety nie tylko wobec luk jej wychowania, ale także wobec ubóstwa jej inteligencji. Więcej jeszcze: ile razy Odeta opowiadała jakąś głupią historię, Swann słuchał żony z przyjemnością, z rozbawieniem, niemal z podziwem, w który musiały wchodzić resztki rozkoszy; gdy przeciwnie, jego spostrzeżeń, często inteligentnych, nawet głębokich, Odeta słuchała zazwyczaj bez zainteresowania, pobieżnie, niecierpliwie, czasem przeczyła mu szorstko. I można wnosić, że to ujarzmienie elity przez pospolitość jest regułą w wielu małżeństwach, skoro się pomyśli, na odwrót, o tylu kobietach wyższych, które oczarował jakiś cham, bezlitosny cenzor ich najsztudniejszych myśli, gdy one rozplywają się z pobłażliwą tkliwością nad płaskimi facecjami męża.

Aby wrócić do przyczyn, które nie pozwoliły Odecie w owej epoce dostać się do Faubourg Saint-Germain, trzeba powiedzieć, że najświeższy obrót światowego kalejdoskopu był następstwem serii skandalów. W kobietach, u których bywano z całym zaufaniem, odkryto dziewczyny publiczne, angielskich szpiegów! Zaczęto przez jakiś czas żądać od ludzi (tak sądzono przynajmniej), aby byli przede wszystkim solidni, pewni... Odeta przedstawiała ściśle wszystko to, z czym właśnie zerwano, aby zresztą natychmiast

<sup>44</sup>Księżnej (...) diuszessy — polski język nie ma terminów na odróżnienie tytułów *duc* i *prince*, które trzeba nam tłumaczyć jednakowo przez książę. Toteż w dalszym ciągu nieraz przyjdzie nam się spotkać z dwoma książętami de Guermantes: Błażem (duc de Guermantes) i Gilbertem (prince de Guermantes), oraz z dwiema księżnymi: Błażejową (Oriona) i Gilbertową (Maria). Na ogół *duc* stoi wyżej w hierarchii tytułów, poza paroma rodami, w których tytuł *prince* posiadał szczególne dostojenie, oraz poza „księżętami krwi”, członkami panujących domów, którym również daje się ogólnie tytuł *prince*, ale barwiący się wówczas innym odcieniem. Książę Orleański, duc de Chartres, hrabia Paryża, potomkowie francuskiej rodziny panującej, wciąż przez rojalistów uznawanej za królewską, mają inny porządek tytułów, wsparty na tradycji. Nazwiska i tytuły arystokratyczne wędrują wedle specjalnych praw: i tak prince des Laumes zaczął się tytułować od śmierci swego ojca duc de Guermantes, podczas gdy jego rodzony brat zowie się baron de Charlus itd. [przypis tłumacza]

nawiązać, ludzie bowiem nie zmieniają się z dnia na dzień i szukają w nowym ustroju kontynuacji dawnego. Ale szukano tego samego pod inną formą, która podtrzymywała złudną wiarę, że to już nie jest owa sosjeta sprzed katastrofy. Otóż Odeta zbyt była podobna do dam wyświeconych z tej sfery. Ludzie światowi są bardzo krótkowzroczni; w chwili gdy zrywają wszelkie stosunki z wykwintnymi Izraelitkami, swymi znajomymi, wówczas szukając, czym by zapłacić tę próżnię, spostrzegają, wyrosłą jak grzyb po deszczu, nową damę, również Izraelitkę; ale dzięki swojej nowości, nie kojarzy się ona w ich umyśle, jak poprzednie, z tym, co w swoim przekonaniu powinni nienawidzić. Nie żąda, aby szanowano jej Boga. I świat przygarnia tę damę. W epoce, gdym zaczynał bywać u pani Swann, nie było mowy o antysemityzmie. Ale Odeta była zbyt podobna do tego, od czego chwilowo chciano uciec.

Co się tyczy Swanna, odwiedzał on często niektórych dawnych znajomych, zatem osoby z największego świata. Ale, kiedy nam mówił o ludziach, od których wracał, zauważyłem, że wśród jego dawnych stosunków obecnie wybór Swanna kierował się tym samym rodzajem pół-artystycznych, pół-historycznych upodobań, jakie powodowały nim jako kolekcjonerem. Często jakaś zdeklasowana dama interesowała go, bo była niegdyś kochanką Liszta lub też Balzac dedykował którąś powieść jej babce. Podobnie Swann kupował jakiś rysunek, dlatego że go opisał Chateaubriand. Patrząc na to, zacząłem podejrzewać, że o ile popełnialiśmy swego czasu błąd, uważając Swanna za mieszcza obcego wielkiemu światu, zastąpiliśmy ten błąd innym, uważając go z kolei za jednego z lwów paryskich. Być przyjacielem hrabiego Paryża — to nie znaczy nic. Iluż jest owych „przyjaciół książąt krwi”, których nie przyjęto by w bodaj trochę wybredniejszym salonie. Książęta krwi wiedzą, czym są, nie są snoby, uważają się zresztą za coś o tyle powyżej reszty ludzkości, że wielcy panowie i mieszczenie wydają się im czymś prawie na jednym poziomie.

Zresztą Swann, wybierając nazwiska, które przeszłość wpisała w wytworny świat i które jeszcze można tam czytać, nie zadowalał się szukaniem w towarzystwie zwykłych przyjemności kulturalnego człowieka i artysty. Znajdował dość grubą rozrywkę w tym, aby robić jak gdyby bukiety towarzyskie, grupując różnorodne składniki, gromadząc osoby pozbierane to tu, to tam. Te doświadczenia „socjologii uciesznej” (przynajmniej w oczach Swanna) nie u wszystkich przyjaciółek jego żony — przynajmniej nie stale — znajdowały jednak odzew. „Mam ochotę zaprosić razem Cottardów i księżnę Vendôme” — mówił Swann, śmiejąc się, do pani Bontemps, z miną smakosza, który ma ochotę na próbę zastąpić w jakimś sosie goździki pieprzem *cayenne*. Otóż ten zamiar, który miał się wydać rozkoszny Cottardom, posiadał dar przywodzenia do rozpaczki pani Bontemps. Swannowie przedstawili ją świeżo księżnej Vendôme, co sama pani Bontemps uważała za równie miłe jak naturalne. Pochwalić się tym przed Cottardami, było nie najmniej smakowitą częścią tej przyjemności. Ale jak świeżo obdarzeni Legią chcieliby natychmiast zamknąć kran z odznaczeniami, tak pani Bontemps byłaby pragnęła, aby po niej nikogo z jej świata nie przedstawiono dostojnej księżnej krwi. Przeklinała w duchu perwersję Swanna, który, aby ziszczyć kaprys estety, rozwiewał jednym zamachem wszystkie piasek, jaki ona rzuciła w oczy Cottardom, mówiąc im o księżnej Vendôme. Jak ona będzie nawet mogła powiedzieć mężowi, że profesor i jego żona dostąpią z kolei udziału w przyjemności, którą zachwalała mu jako jedyną! Gdybyż jeszcze Cottardowie mogli wiedzieć, że zaproszono ich nie na serio, ale dla zabawy! Prawda, że państwa Bontemps zaproszono w tej samej intencji; ale Swann, przejąwszy od arystokracji ów wiekuisty donżuanizm, który między dwiema kobietami „z gminu” pozwala każdej wierzyć, że ją jedną kocha się prawdziwie, mówił pani Bontemps o księżnej Vendôme jako o bardzo naturalnym dla niej towarzystwie. „Tak, mamy zamiar zaprosić jej dostojność razem z Cottardami — rzekła w parę tygodni później pani Swann — mąż uważa, że ta koniunkcja może wydać coś zabawnego” — o ile bowiem zachowała z „małego klanu” pewne przyzwyczajenia drogie pani Verdurin, jak na przykład krzyżeć bardzo głośno, aby być słyszaną przez wszystkich wiernych, w zamian za to używała pewnych wyrażeń — jak „koniunkcja” — ulubionych sferom Guermantów, których wpływowi ulegała w ten sposób na odległość i nie wiedząc o tym, jak morze ulega wpływowi księżycy, nie zbliżając się do niego widocznie.

— Tak, Cottardowie i księżna Vendôme, czy nie uważa pani, że to będzie zabawne? — pytał Swann.

— Ja myślę, że to będzie bardzo źle pasowało i że ściągnie na pana same przykrości, nie trzeba igrzać z ogniem — odparła pani Bontemps, wściekła.

I ją, i jej męża, zarówno jak księcia d'Agrigente, zaproszono zresztą na ten obiad, o którym pani Bontemps i Cottard opowiadali na dwa sposoby, zależnie od osób, z którymi rozmawiali. Jednym, pani Bontemps na swoją rękę, Cottard na swoją, mówili od niechcienia, kiedy ich pytano, czy był kto jeszcze na owym obiedzie:

— Był tylko książę d'Agrigente, to było w ścisłym kółku.

Ale zdarzało się, że ktoś był lepiej poinformowany; raz nawet ktoś powiedział do Cottarda: „Ale czy nie było także państwa Bontemps?” — Zapomniałem o nich” — odparł, rumieniąc się, Cottard niedyskretnemu człowiekowi, którego odtąd mieścił w kategorii „złych języków”. Dla takich państwo Bontemps i Cottardowie, nie porozumiewając się z sobą, przyjęli wersję, której rama była jednaka, jedynie nazwiska się zmieniały. Cottard mówił: „No cóż, byli tylko państwo domu, oboje księstwo Vendôme, dalej — (tu uśmiechał się z zadowoleniem) — profesorostwo Cottard, i daję słowo, lichy wie, po co — bo byli tam potrzebni jak włos w zupie — byli ci Bontemps”. Pani Bontemps recytowała dokładnie ten sam kawałek, z tym, że między księżną Vendôme a księciem d'Agrigente, wyszczególniała z zadowoloną emfazą państwa Bontemps, intruzami zaś, których w końcu obwiniała o to, że się sami wprosilili i że zepsuli towarzystwo, byli Cottardowie.

Ze swoich wizyt Swann wracał często niedługo przed obiadem. W tych chwilach, o tej szóstej wieczór, kiedy niegdyś czuł się tak nieszczęśliwy, nie pytał już sam siebie, co Odeta może właśnie robić, i niewiele troszczył się o to, czy ma gości, czy też wyszła. Przypominał sobie czasem, iż wiele lat temu próbował jednego dnia przeczytać przez kopertę list Odety do pana de Forcheville. Ale to wspomnienie nie było mu przyjemne. Zamiast zgłębiać wstyd, jaki w tej chwili odczuwał, wołał zrobić lekki grymas, dopełniony w potrzebie ruchem głowy, który oznaczał: „co mnie to może obchodzić?”. Zapewne, Swann uważał obecnie, że hipoteza, przy której często zatrzymywał się niegdyś i wedle której wyłącznie mając jego zazdrości oczerniały niewinne w istocie życie Odety, że ta hipoteza (w sumie pomyślna, skoro tak długo, jak długo trwała miłosna choroba Swanna, zmniejszyła jego cierpienia, przedstawiając mu je jako urojone) była mylna, że to zazdrość jego widziała trafnie, i że, o ile Odeta kochała go więcej, niż sądził, zdradzała go także więcej. Niegdyś, gdy tak cierpiał, Swann poprzysiągł sobie, że kiedy już nie będzie kochał Odety i nie będzie się już bał pogniewać jej lub zdradzić się z tym, iż ją zanadto kocha, uczyni sobie tę satysfakcję, aby wyświecić — przez czystą miłość prawdy i jako fakt historyczny — czy Forcheville był z nią w łóżku owego dnia, kiedy Swann dzwonił i tłukł w szyby nadaremnie i kiedy ona napisała Forchevillovi, że zaszedł ich jej wuj. Ale ów problem, tak interesujący, że Swann czekał jedynie końca zazdrości z tym, aby go wyświecić, stracił właśnie wszelkie znaczenie w jego oczach, skoro przestał być zazdrosny. Co prawda nie zaraz. Nie był już zazdrosny o Odetę, ale dzień owego daremnego pukania do willi przy ulicy La Pérouse wciąż jeszcze w nim podsycał zazdrość. To było tak, jak gdyby zazdrość — podobna w tym do owych chorób, które zdają się mieć swoją siedzibę, swoje źródło infekcji, nie tyle w pewnych osobach, ile w pewnych miejscach, w pewnych domach — miała za przedmiot nie tyle samą Odetę, ile ów dzień, ową godzinę straconej przeszłości, kiedy Swann pukał do wszystkich drzwi kochanki. Można by rzec, iż jedynie ten dzień, ta godzina, utrwaliły jakieś ostatnie cząstki dawnej miłosnej osobowości Swanna i że ów odnajdywał je już tylko tam. Od dawna już nie dbał o to, że go Odeta zdradzała niegdyś i że może go zdradzać jeszcze. A mimo to, wciąż przez kilka lat szukał dawnych służących Odety, tak dalece przetrwała w nim bolesna chęć dowiedzenia się, czy owego dnia, tak już odległego, o szóstej, Odeta była z Forchevillem. Później sama ta ciekawość znikła, ale śledztwo Swanna nie ustało. Nadal starał się przeniknąć to, co go już nie obchodziło, bo jego dawne *ja*, doszedłszy do zupełnego uwiadu, działało jeszcze machinalnie, w duchu wygasłych zainteresowań. Tak iż Swann nie potrafił już sobie nawet odtworzyć tego wzruszenia, niegdyś tak mocnego, że nie mógł sobie wyobrazić wówczas, aby się zdołał kiedyś zeń wyzwolić; jedynie śmierć tej, którą kochał (śmierć, która — jak to w dalszym ciągu tego dzieła wykaże okrutna kontr-próba — nie zmniejsza w niczym cierpienie zazdrości) zdawała mu się zdolna wyrównać dlań całkowicie zablokowaną drogę życia.

Ale wyjaśnić kiedyś fakty z życia Odety, które przyniosły mu tę mękę, nie było jedynym pragnieniem Swanna. Przyrzekał sobie również zemścić się za to, co wycierpiał,



wówczas gdy, nie kochając już Odety, nie będzie się jej bał. Otóż właśnie nastęrczała się sposobność ziszczenia tego drugiego zamiaru, bo Swann kochał inną kobietę. Kobieta ta nie dawała mu powodów do zazdrości, ale budziła ją w nim, bo Swann nie był już zdolny odnowić swojego sposobu kochania; ten, który zużył w stosunku do Odety, służył mu jeszcze dla innej. Izby zazdrość Swanna odrodziła się, nie była konieczna zdrada ze strony tej kobiety; wystarczyło, że z jakiegokolwiek powodu była daleko od niego, na jakimś balu na przykład, i że się mogła tam bawić. To było dosyć, aby w nim zbudzić dawny niepokój, oplakaną i paradoksalną wybujałość jego miłości, oddalającą Swanna od tego, z tęsknoty za czym niejako się rodziła (owym czymś było uczucie młodej kobiety dla niego, tajemna żądza zawładnięcia jej życiem, tajemnica jej serca), bo między Swanna a tę, którą kochał, niepokój ów rzucał twardy gruz dawniejszych posądzeń, mających swoją przyczynę w Odecie lub może w jakiejś poprzedniczce Odety. Posądzenia te nie pozwalały już postarzałemu kochankowi znać swojej dzisiejszej kochanki inaczej niż poprzez dawne i zbiorowe widmo „kobiety budzącej jego zazdrość”, w które to widmo dowolnie wcielił swoją nową miłość. Bywało, iż Swann obwinił tę zazdrość o to, że mu wmawia urojone zdrady; ale wówczas przypominał sobie, że Odetę rozgrzeszał tym samym rozumowaniem, i błędnie. Toteż nic z tego, co jego młoda kochanka robiła w godzinach, gdy nie byli razem, nie wydawało mu się niewinne. Ale gdy niegdyś poprzysiągł sobie, że, jeżeli kiedy przestanie kochać Odetę (w której nie domyślał się przyszłej żony), okaże jej bezlitośnie swoją obojętność — nareszcie szczerą — aby pomścić długo ranioną dumę, zemsta ta, której mógł obecnie dopełnić bez ryzyka (bo cóż mu dziś znaczyło, gdyby Odetę wzięła go za słowo i pozbawiła go owych poufnych chwil, które niegdyś były mu tak potrzebne), zemsta ta była mu już obojętna; wraz z miłością znikło pragnienie okazania Odecie, że już jej nie kocha. I on, który, wówczas gdy cierpiał przez Odetę, tak byłby pragnął pokazać jej kiedyś, że kocha inną, teraz, gdy mógł to uczynić, dokładał wszelkich starań, aby żona nie domyśliła się nowej miłości.

Odtąd brałem udział nie tylko w owych podwieczorkach, które niegdyś, pozbawiając mnie wcześniej widoku Gilberty, pogrążyły mnie w smutku, ale w wyprawach, jakie Gilberta czyniła z matką, bądź idąc na spacer, bądź popołudniu do teatru; w owych wyprawach, które również, nie pozwalając Gilbertce przybyć na Pola Elizejskie, niegdyś pozbawiały mnie jej w dzień, gdym zostawał sam na trawniku lub przed karuzelą. Obecnie państwo Swann dopuszczali mnie do tych wypraw; miałem swoje miejsce w ich landzie i mnie pytano specjalnie, czy wolę iść do teatru, na lekcję tańców do którejś z koleżanek Gilberty, na „żurek” do jakiejś przyjaciółki Swannów (co pani Swann nazywała „*mały meeting*”), lub zwiedzić groby królewskie w Saint-Denis.

W owe dni, gdym miał towarzyszyć państwu Swann, przychodziłem do nich na śniadanie, które pani Swann nazywała *lunchem*. Proszono mnie aż na wpół do pierwszej, a w owej epoce u nas śniadało się o kwadrans na dwunastą; toteż rodzice wstali już od stołu, kiedy ja kierowałem się ku owej zamożnej dzielnicy, dość puste zawsze, a zwłaszcza w porze, gdy wszyscy są u siebie w domu. Nawet w zimie i w mróz, jeżeli było ładnie, poprawiając od czasu do czasu węzeł wspaniałego krawata od Charveta i patrząc, czy się moje lakierki nie powalały, przechadzałem się po szerokich ulicach, czekając godziny dwunastej dwadzieścia siedem. Z daleka widziałem w ogródku Swannów słońce, w którym obnażone drzewa błyszcząły jak szron. Prawda, że było ich w tym ogródku tylko dwa. Niezwykła godzina dawała nowość temu widokowi. Z tymi urokami natury (które wzmagała odmiana przyzwyczajzeń, a nawet głód) mieszała się wzruszająca perspektywa śniadania u pani Swann; nie zmniejszała ich, ale, dominując nad nimi, ujarzmiła je, czyniła z nich światowe akcesoria; tak iż jeśli o tej godzinie, o której zazwyczaj nie spostrzegłem tego wszystkiego, zdawało mi się, że odkrywam piękną pogodę, mróz, słońce zimowe, było to niby preludium do jajek ze śmietaną, coś jakby patyna, różowy i świeży laserunek powlekający malowidła tajemniczej kaplicy, jaką było mieszkanie pani Swann, o wnętrzu pełnym ciepła, zapachu i kwiatów.

O wpół do pierwszej decydowałem się wreszcie wejść do tego domu, który niby drzewko w wilię Bożego Narodzenia wróżył mi nadprzyrodzone rozkosze. (Słowo Boże

Narodzenie było zresztą nieznaną pani Swann i Gilbertcie; zastąpiły je słowem *Christmas* i mówiły jedynie o puddingu *Christmas*, o tym, co dostały na *Christmas*, o tym — co mnie przywodziło do rozpacz — gdzie wyjadą na *Christmas*. Nawet w domu byłbym się czuł zhańbiony, mówiąc o Bożym Narodzeniu, mówiłem już tylko o *Christmas*, co się ojcu wydawało bardzo śmieszne).

Spotykałem na wstępie tylko kamerdynera, który przeprowadziwszy mnie przez kilka salonów, wiódł mnie do malutkiego pustego saloniku, jak gdyby już rozmarzonego błękitnym popołudniem swoich okien. Zostawałem sam w towarzystwie storczyków, róż i fiołków. Podobne osobom czekającym obok nas, ale nieznanym, kwiaty te zachowywały milczenie, które ich indywidualność rzeczy żywych czyniła tym bardziej przejmującym, i chłonęły ze drżeniem ciepło żarzącego się węgla, troskliwie ułożonego za kryształową szybą, w białej marmurowej misie, w którą osypywały się od czasu do czasu jego niebezpieczne rubiny.

Siadałem, ale wstawałem spiesźnie, słysząc otwierające się drzwi; był to tylko drugi lokaj, potem trzeci, a mizernym rezultatem ich daremnie alarmujących wędrówek było dodanie węgla do ognia lub wody do wazonów. Odchodzili i znów zostawałem sam, skoro się zamknęły drzwi, które pani Swann miała w końcu otworzyć. I z pewnością mniej byłbym wzruszony w czarodziejskiej grocie niż w tym saloniku, gdzie ogień zdawał mi się narzędziem przeobrażeń, niby w laboratorium Klingsora. Rozlegał się nowy odgłos kroków, nie wstawałem; to pewno znów lokaj; ale to był pan Swann.

— Jak to, pan sam? Cóż pan chce, moja dobra żona nigdy nie nauczyła się, co to jest godzina. Za dziesięć pierwsza. Co dzień później. I zobaczy pan, przyjdzie nie śpiesząc się, myśląc, że jest wcześniej.

Ze zaś cierpiał na nerwicę i zrobił się trochę śmieszny, fakt posiadania żony tak niepunktualnej, która wracała tak późno z Lasku, która zasiadywała się u krawcowej i nigdy nie była na czas na śniadanie, niepokoił Swanna z racji jego żołądka, ale pochlebiał jego próżności.

Pokazywał mi swoje nowe nabytki i tłumaczył mi ich osobliwości, ale wzruszenie, połączone z nieprzyzwyczajeniem głodzenia się do tak późna, wносиło zamęt w moje myśli, tworzyło w nich próżnię; mogłem mówić, ale nie byłem zdolny słyszeć. Zresztą, co się tyczyło rzeczy będących własnością Swanna, wystarczyło mi, że są u niego, że tworzą część rozkosznej godziny poprzedzającej śniadanie. Gdyby się tam znalazła *Gioconda*, nie sprawiłaby mi więcej przyjemności niż szlafroczek pani Swann lub jej flakony z solami.

Czekałem dalej sam albo ze Swannem, często z Gilbertą, gdy przyszła dotrzymywać nam towarzystwa. Przybycie pani Swann, przygotowane przez tylu majestatycznych zwia-  
stunów, zdawało mi się olbrzymim ewenementem. Nadśluchowałem każdego trzasku. Ale katedra, morze podczas burzy, skok tancerza, nigdy nie sięgają tak wysoko, jakieśmy się spodziewali; po tych lokajach w liberii, podobnych statystom w teatrze, których orszak przygotowuje i tym samym osłabia zjawienie się królowej, pani Swann, wchodząc nieznanie w swoim selskinowym futerku, z woalką ściągniętą na zacerwieniony zimnem nos, nie spełniała obietnic zrodzonych w mojej wyobraźni oczekiwaniem.

Jeżeli pani Swann zostawała całe rano w domu, wówczas wchodziła do salonu w jasnym peniuarze *crêpe de Chine*, który mi się zdawał wytworniejszy niż wszystkie jej suknie.

Czasem Swannowie decydowali się siedzieć w domu przez całe popołudnie. Wówczas, kiedy śniadanie było tak późno, rychło widziałem na murze w ogródku zniżające się słońce — słońce owego dnia, który w moich oczach powinien był różnić się od innych. Daremnie lokaje znosili lampy wszelkich rozmiarów i kształtów, płonące na poświęconych ołtarzach konsolek, stoliczków, gerydonów, narożników, niby dla uświęcenia nieznanego obrządku; nic niezwykłego nie rodziło się z rozmowy. Odchodziłem zawiedziony, jak często dzieci wracają z pasterki.

Ale to rozczarowanie było tylko duchowe. Promieniałem z radości w tym domu, gdzie Gilberta, o ile nie było jej jeszcze, miała wejść i użyć mi za chwilę, na całe godziny, swoich słów, swego uważnego i uśmiechniętego spojrzenia, takiego, jak je ujrzałem pierwszy raz w Combray. Co najwyżej byłem trochę zazdrosny, widząc, jak ona często znika w wielkich pokojach, do których wiodły wewnętrzne schody. Musiałem zostać w salonie, niby kochanek aktorki, który w swoim fotelu na sali roi z niepokojem o tym, co się dzieje za kulisami, we foyer artystów. Aby przeniknąć tajemnicę owej drugiej czę-

ści domu, zadawałem Swannowi pytania zręcznie maskowane, ale mimo woli zdradzające niepokój. Wytłumaczył mi, że ubicacja, do której się udała córka, to jest bielizniarnia; ofiarował się pokazać mi ją i przyrzekł, że za każdym razem, kiedy Gilberta będzie musiała tam iść, każe jej zabrać mnie z sobą. Przez te ostatnie słowa i przez ulgę, jaką mi sprawiły, Swann zniósł we mnie nagle ów okropny dystans wewnętrzny, na którego krańcu ukochana kobieta ukazuje się nam tak odległa. W takich chwilach czułem dla Swanna tkliwość, która mi się zdawała głębsza niż tkliwość dla Gilberty. Bo on, będąc panem swojej córki, dawał mi ją, gdy ona wymykała mi się czasem; nie miałem nad nią wprost tej władzy, jaką miałem pośrednio przez Swanna. A przy tym ją kochałem, i tym samym nie mogłem jej widzieć bez owego zmieszania, bez owego pragnienia czegoś więcej, które w pobliżu ukochanej istoty odejmuje wrażenie, że się kocha.

Najczęściej zresztą nie zostawaliśmy w domu, wybieraliśmy się na spacer. Czasami, pani Swann, zanim poszła się ubrać, siadała do fortepianu. Jej piękne ręce, wynurzające się z rękawów różowego, białego, często bardzo jaskrawego krepdeszynowego szlafrocza, biegły palcami po klawiszach z tą samą melancholią, jaka była w jej oczach, nie będąc w sercu. W jeden z takich dni zdarzyło się jej zagrać mi ową część sonaty Vinteuila, gdzie znajduje się fraza, niegdyś tak droga Swannowi. Ale często, jeżeli chodzi o muzykę dość trudną, której słuchamy pierwszy raz, nie rozumiemy nic. Mimo to, kiedy później przegrano mi parę razy tę sonatę, spostrzegłem, że ją znam doskonale. Toteż słusznie się mówi: „słyszeć pierwszy raz”. Gdybyśmy naprawdę, tak jak przypuszczaliśmy, nic nie pochwycili za pierwszym razem, drugi i trzeci raz byłby znowuż pierwszym, i nie byłoby racji, abyśmy rozumieli coś więcej za dziesiątym. Jeżeli czego nam brak za pierwszym razem, to prawdopodobnie nie zrozumienia, lecz pamięci. Bo w stosunku do złożoności wrażeń, z jakimi pamięć musi się zmierzyć, gdy słuchamy, pamięć ucha jest znikoma, krótka jak pamięć człowieka, który śpiąc, myśli tysiąc rzeczy po to, aby ich natychmiast zapomnieć, lub człowieka w pół dzieciinniałego, który po minucie nie przypomina sobie tego, co mu się powiedziało dopiero co. Pamięć nasza nie jest zdolna dostarczyć nam natychmiast wspomnienia tych różnorodnych wrażeń. Ale to wspomnienie tworzy się w niej pomалу, i wobec dzieł, któreśmy słyszeli dwa lub trzy razy, jesteśmy niby uczeń, który przed zaśnięciem odczytał na kilka zawodów lekcję, myśląc, że jej nie umie, a recytuje ją na pamięć nazajutrz rano. Aż do tego dnia, nie rozumiałem nic z owej sonaty; tam, gdzie Swann i jego żona widzieli odrębną frazę, fraza ta była równie daleko od mojej świadomości, co jakaś nazwa, którą silimy się sobie przypomnieć, znajdując w jej miejsce jedynie próżnię, próżnię, z której w godzinę później, bez myśli o tym, wyskoczą same z siebie, jednym susem, na próżno wprzód wzywane głoski. I nie tylko nie ogarniamy od razu dzieł naprawdę rzadkich, ale nawet z samych owych dzieł — zdarzyło mi się to z sonatą Vinteuila — najpierw chwytamy najmniej cenne części. Tak iż myliłem się nie tylko sądząc, że to dzieło nie kryje już dla mnie nic (co sprawiło, że długi czas nie starałem się go usłyszeć), z chwilą gdy pani Swann zagrała mi jego najsłynniejszą frazę (w czym byłem tak niemądry jak ci, co nie spodziewają się już osłupieć wobec św. Marka w Wenecji, dlatego że oglądali na fotografii kształt jego kopuły); ale co więcej, nawet kiedy wysłuchałem sonaty od początku do końca, została ona dla mnie prawie całkowicie niewidzialna, niby gmach, którego, wskutek oddalenia lub mgły, widziałoby się jedynie nieznaczną część. Stąd melancholia, związana z poznaniem takich dzieł, jak wszystkiego, co się realizuje w czasie. Kiedy to, co jest najbardziej utajone w sonacie Vinteuila, odkryło się dla mnie, już przyzwyczajenie uniosło mnie poza zasięg mojej wrażliwości i to, com rozróżnił i ukochał zrazu, zaczynało mi się wymykać, pierzchać. Przez to, że mogłem kochać jedynie kolejno wszystko, co mi dawała owa sonata, nie posiadałem jej nigdy całej; w czym była podobna do życia. Ale, mniej zawodne od życia, te wielkie arcydzieła nie dają nam nigdy od razu tego, co w nich jest najlepsze. W sonacie Vinteuila najwcześniej odkrywano piękności najprędzej się nam przykrzą, zapewne z tej samej przyczyny, mianowicie, że mniej się różnią od tego, cośmy już znali. Ale w zamian za to pozostaje nam ukochanie jakiejś frazy, której harmonia była nam wprzód zbyt nowa, aby dać coś innego prócz wrażenia chaosu; tym samym motywów ów, niezrozumiały zrazu, uchował się jak gdyby nietknięty. Wówczas ta fraza, którą mijaliśmy co dzień, nie wiedząc o tym, która się wzdragała ujawnić, która siłą swojej jedynej piękności stała się niewidzialna i pozostała nieznana, przychodzi do nas na ostatku. Ale też i my opuścimy ją na ostatku. I będzie-

my ją kochali dłużej niż inne, dlatego że więcej czasu włożyliśmy w to, aby ją pokochać. Ten czas zresztą, którego trzeba nam — jak mnie trzeba go było wobec tej sonaty — aby wniknąć w jakies głębsze dzieło, jest jedynie skrótem i jakby symbolem lat, niekiedy wieków, które upływają, zanim publiczność zdoła pokochać arcydzieło naprawdę nowe. Toteż genialny człowiek, aby sobie oszczędzić nieuznania tłumów, powiada sobie może, że jego współczesnym zbywa potrzebnego dystansu; że dzieła pisane dla potomności winny być czytane tylko przez nią, jak pewne obrazy źle się sądzi z nazbyt bliska. Ale w istocie wszelkie małoduszne ostrożności celem uniknięcia fałszywych sądów są daremne; omyłki są nieuniknione. Przyczynę, że genialne dzieło z trudem zyskuje rychły podziw, stanowi to, że ten, co je napisał jest niezwykle, że mało kto jest doń podobny. Dopiero właśnie jego dzieło, zapładniając rzadkie duchy zdolne je zrozumieć, wyhoduje je i rozmnoży. Kwartety Beethovena (XII, XIII, XIV i XV) potrzebowały pięćdziesięciu lat, aby zrodzić i pomnożyć miłośników kwartetów Beethovena, urzeczywistniając w ten sposób, jak wszystkie arcydzieła, postęp, jeżeli nie w wartości artystów, to przynajmniej w obcowaniu duchów, bogatym dziś w to, czego było niepodobna znaleźć w dobie powstania arcydzieła, to znaczy w istoty zdolne je pokochać. To, co się nazywa potomnością, jest potomstwem dzieła. Trzeba, by dzieło (nie biorąc, dla uproszczenia, w rachubę geniuszów, zdolnych w tej samej epoce równocześnie przygotowywać na przyszłość lepszą publiczność, z której skorzystają inni geniusze) samo sobie stworzyło potomność. Gdyby więc dzieło, pozostając w ukryciu, stało się znane jedynie potomności, byłaby ona wobec tego dzieła nie potomnością, ale gromadą współczesnych, jedynie żyjących o pięćdziesiąt lat później. Toteż trzeba, aby artysta — i to uczynił Vinteuil — jeśli chce, aby jego dzieło mogło iść swoją drogą, rzucił je, niby na głęboką wodę, w pełną i odległą przyszłość. A jednak, o ile błędem złych sędziów jest nie uwzględniać owej przyszłości, prawdziwej perspektywy arcydzieła, o tyle uwzględniać ją bywa czasem niebezpiecznym skrupułem dobrych sędziów. Bez wątpienia, łatwo jest wyobrazić sobie — w złudzeniu podobnym do owej złudy, która ujednostajnia wszystkie rzeczy na horyzoncie — że wszystkie dotychczasowe przewroty w malarstwie lub muzyce szanowały mimo to pewne prawidła, i że to, co mamy bezpośrednio przed sobą, impresjonizm, szukanie dysonansu, wyłączny użytek gamy chińskiej, kubizm, futuryzm, różni się zuchwale od tego, co było przedtem. Bo oceniając to, co było wprzód, nie uwzględniamy, że długie oswojenie zmieniło to dla nas w materię różnorodną zapewne, ale w sumie jednolitą, gdzie Wiktor Hugo sąsiaduje z Moliere. Pomyślmy tylko o rażących sprzecznościach, jakimi by nas zdumiał — gdybyśmy nie brali w rachubę przyszłego czasu i zmian, jakie sprowadza — jakiś horoskop naszych własnych dojrzałych lat, wywrócony nam za młodu. Tylko nie wszystkie horoskopy są prawdziwe, a konieczność wprowadzenia — w ocenie dzieła sztuki — czynnika czasu w sumę jego piękna, barwi nasz sąd czymś równie przypadkowym i równie pozbawionym prawdziwej wartości jak wszelkie prorocstwo, którego niespełnienie się nie świadczy bynajmniej o umyślowym ubóstwie proroka, owa bowiem władza, która powołuje do bytu rzeczy możliwe lub je z niego wyklucza, niekoniecznie jest właściwością geniuszu; można było być genialnym, a nie wierzyć w przyszłość kolei żelaznych czy samolotów, lub też, będąc wielkim psychologiem, nie uwierzyć w fałszywość kochanki lub przyjaciela, których zdradę przewidziałby mierniejszy człowiek.

O ile nie zrozumiałem sonaty, byłem zachwycony grą pani Swann. Uderzenie jej zdawało mi się, jak jej peniuar, jak zapach jej schodów, jak jej płaszcz, jak jej chryzantemy, częścią swojej i tajemniczej całości, w świecie nieskończenie wyższym od tego, w którym rozum może analizować talent.

— Czy nie piękna ta sonata Vinteuila? — rzekł do mnie Swann. — Chwila, kiedy zapada noc pod drzewami, kiedy arpedžia skrzypiec sprowadzają chłód. Niech pan przyzna, że to bardzo ładne; jest tutaj cała statyczna strona blasku księżycy, to co w nim jest zasadnicze. Nie dziw, że kuracja świetlna, jaką przechodzi żona, działa na mięśnie, skoro blask księżycy ubezwładnia poruszenia liści. To właśnie jest cudownie oddane w tej małej frazie: Lasek Buloński stężyły w katalepsji. Nad morzem to jest jeszcze bardziej uderzające, bo tam są owe słabe odpowiedzi fal, słyszane bardzo dobrze, skoro reszta nie może się poruszyć. W Paryżu przeciwnie: ledwie spostrzegamy te niezwykle światła na gmachach, to niebo oświetlone jak gdyby pożarem bez barw i bez niebezpieczeństw, jakieś olbrzymie przeczuwane wydarzenie. Ale we frazie Vinteuila, i zresztą w całej sonacie, to nie to; to się

dzieje w Lasku, w gruppetto słyzy się wyraźnie jakiś głos, który mówi: „Prawie można by czytać gazetę”.

Te słowa Swanna mogłyby spacyzyć na przyszłość moje pojęcie Sonaty, ile że muzyka jest zbyt mało ekskluzywna, aby bezwzględnie oddalić to, co nam ktoś w niej podsuwa. Ale zrozumiałem z innych jego słów, że owe nocne liście to są po prostu te, w których gęstwie, w rozmaitych restauracjach dokoła Paryża słyzył niejednego wieczoru tę frazę. W miejsce głębokiego sensu, którego tak często u niej pytał, ukazywała ona Swannowi gąszcz liści, zgrupowanych, splecionych, namalowanych dokoła niej (i słyżąc tę frazę pragnął oglądać owe liście, bo mu się zdawała jak gdyby ich duszą); to była cała wiosna, którą nie mógł się sycić nigdy, nie mając — pełen wówczas gorączki i goryczy — dosyć na to spokoju ducha, a którą (jak się robi dla chorego z zabronionymi przysmakami) zachowała dla niego. O ten czar, jaki weń tchnęły pewne noce w Lasku i o którym sonata Vinteuila mogła mu wiele powiedzieć, o ten czar nie mógłby pytać Odety, mimo że towarzyszyła mu jak ta fraza. Ale Odeta była tylko obok Swanna (nie w nim, jak motyw Vinteuila); nie widziała tedy — choćby była tysiąc razy pojętniejsza — tego, co dla nikogo z nas (długo przynajmniej sądziłem, że to prawidło nie zna wyjątków) nie może się uzewnętrznąć.

— To w gruncie dosyć ładne, nieprawdaż — mówił Swann — że dźwięk może odbijać, jak woda, jak lustro. I niech pan zważy, że fraza Vinteuila pokazuje mi jedynie wszystko to, na co w owej epoce nie zwracałem uwagi. Z moich trosk, z mojej miłości ówczesnej nie przypomina mi już nic, dokonała wymiany.

— Karolu, zdaje mi się, że to nie jest bardzo uprzejme dla mnie, to, co mówisz.

— Nieuprzejme! Kobiety są wspaniałe! Chciałem tylko powiedzieć młodemu człowiekowi, że to, co muzyka ukazuje — przynajmniej mnie — to nie jest wcale „Wola sama w sobie”, ani „Synteza nieskończoności”, ale na przykład tużurek papy Verdurin w palmarium Zoologicznego Ogrodu. Tysiąc razy fraza ta brała mnie na obiad do Armenonville, przy czym nie potrzebowałem opuszczać tego salonu. Mój Boże, to zawsze mniej nudne, niż tam iść z panią de Cambremer.

Pani Swann zaczęła się śmiać:

— To jest dama, która uchodziła za bardzo zakochaną w Karolu — wyjaśniła tym samym tonem, jakim nieco wprzód, mówiąc o Ver Meerze van Delft, kiedy się dziwiłem że go zna, odpowiedziała „Trzeba panu wiedzieć, że mój pan bardzo się zajmował tym malarzem w epoce, gdy się do mnie zalecał. Prawda, Lolu?”.

— Nie paplaj tak o pani de Cambremer — rzekł Swann w gruncie bardzo mile pogłaskany.

— Ależ ja tylko powtarzam to, co mi mówiono. Zresztą, zdaje się, że ona jest bardzo inteligentna, ja jej nie znam. Wydaje mi się bardzo *pushing*, co mnie dziwi u kobiety inteligentnej. Ale wszyscy mówią, że ona szalała za tobą, w tym nie ma żadnej ujmy.

Swann milczał zawzięcie, co było rodzajem potwierdzenia i dowodem próżności.

— Skoro to, co gram, przypomina ci Ogród Zoologiczny — podjęła pani Swann, udając dla żartu urazę — moglibyśmy się tam wybrać dzisiaj, o ile nasz młody gość ma ochotę. Jest bardzo ładnie, będziesz mógł odnaleźć swoje ukochane wrażenia! *A propos* Ogrodu Zoologicznego, czy wiesz, ten młody człowiek sądził, że my bardzo lubimy osobę, którą, przeciwnie, splawiam ile tylko mogę, panią Blatin! To bardzo upokarzające, że ona uchodzi za naszą przyjaciółkę. Pomyślcie, poczciwy Cottard, który nigdy nie mówi źle o nikim, sam powiada o niej, że jest wstrętne.

— Okropność! Ma za sobą jedynie to, że jest taka podobna do Sawonaroli. To wykapany portret Sawonaroli Fra Bartolomeo.

Tę manię, jaką miał Swann, aby odnajdować podobieństwa w obrazach, da się usprawiedliwić, bo nawet to, co nazywamy wyrazem indywidualnym, jest — jak sobie człowiek z takim smutkiem zdaje z tego sprawę wówczas, gdy kocha i kiedy chciałby wierzyć w rzeczywistą jedność indywidualności — czymś powszechnym i mogło się zdarzyć w rozmaitych epokach. Ale, gdyby wierzyć Swannowi, orszaki Trzech królów, już tak anachroniczne wówczas, gdy Benozzo Gozzoli wprowadził w nie Medyceuszów, byłyby nimi bardziej jeszcze, zawierając portrety mnóstwa ludzi, współczesnych nie Gozzolem, ale Swannowi, to znaczy późniejszych nie już o piętnaście wieków od narodzenia Dzieciątka, ale

o cztery wieki od samego malarza. Wedle Swanna, nie brakowało w tym orszaku ani jednego znanego paryżanina, jak w owym akcie sztuki Sardou, gdzie, przez przyjaźń dla autora i dla jego protagonistki, a także przez snobizm, wszystkie znakomitości paryskie, sławni lekarze, politycy, adwokaci, przychodzili, każdy przez jeden wieczór, statystować na scenie.

— Ale jaki ona ma związek z Ogrodem Zoologicznym?

— Wszystkie!

— Jak to, myślisz, że ona ma różowy tyłeczek jak małpy?

— Karolu, jesteś świnka. Nie, ja myślałam o tym, co jej powiedział Syngalez. Opowiedz panu, to naprawdę „piękne”.

— To idiotyczne. Wie pan, że pani Blatin lubi zagadywać każdego w sposób w jej mniemaniu uprzejmy, a w istocie protekcyjnalny.

— To, co nasi dobrzy sąsiedzi znad Tamizy nazywają *patronizing* — przerwała Odeta.

— Wybrała się niedawno do Ogrodu Zoologicznego, gdzie są czarni, Syngalezi, zdaje mi się, jak twierdzi moja żona, która jest o wiele mocniejsza w etnografii ode mnie.

— Karolu, nie drwij ze mnie.

— Ależ ja wcale nie drwię. Dość, że zwróciła się do jednego z czarnych: „Jak się masz, czarny!”.

— To jeszcze jest nic!

— W każdym razie ten przymiotnik nie spodobał się czarnemu. „Ja czarna, powiedział ze złością do pani Blatin, ale ty maupa!”.

— Mnie się to wydaje urocze. Uwielbiam tę historię. Prawda że to „piękne”? Widzi się starą Blatin: „Ja czarna, ale ty maupa!”.

Okazałem żywą chęć oglądania owych Syngalezów, z których jeden nazwał panią Blatin „maupą”. Nie interesowali mnie wcale. Ale pomyślałem, że, aby dotrzeć do Ogrodu Zoologicznego i wrócić, będziemy musieli przebyć ową aleję des Accacias, gdzie tak podziwiałem niegdyś panią Swann, i że może Mulat, przyjaciel Coquelina, przed którym nigdy nie udało mi się popisać ukłonem składanym pani Swann, ujrzy mnie obok niej w powozie.

Przez czas, który Gilberta zużyła na przygotowania i była nieobecna w salonie, państwo Swann z lubością obznajmiali mnie z rzadkimi przymiotami córki. I wszystko, com widział, zdawało się świadczyć, że mówią prawdę; zauważyłem że, jak jej matka mi opowiadała, była ona nie tylko dla przyjaciółek, ale dla służby, dla ubogich wyrafinowanie delikatna, uprzejma; jej chęć sprawienia każdemu przyjemności, a obawa urażenia kogoś, objawiała się w drobnych rzeczach, często dość dla niej uciążliwych. Zrobiła robótkę dla naszej straganiarki z Pól Elizejskich i wyszła w śnieg, aby ją oddać sama, tego samego dnia.

— Nie ma pan pojęcia, jakie ona ma serce, bo ona się z tym kryje — rzekł ojciec.

Mimo iż tak młoda, Gilberta wydawała się o wiele rozsądniejsza od rodziców. Kiedy Swann mówił o wysokich stosunkach żony, Gilberta odwracała głowę i milczała, ale nie zdradzając nagany, bo uważała, że ojciec nie może być przedmiotem najłżejszej krytyki. Jednego dnia, kiedy jej wspomniał o pannie Vinteuil, rzekła:

— Absolutnie nie chcę jej znać. Wystarczy mi jedno: mówią, że była niedobra dla swego ojca, martwiła go. Ty tego nie możesz zrozumieć, tak samo jak ja, prawda? Tak samo nie byłbyś zdolny przeżyć swojego tatusia, jak ja mojego, co jest zresztą całkiem naturalne. Jak można kiedykolwiek zapomnieć o kimś, kogo się kocha od zawsze?

Jednego razu, kiedy Gilberta była szczególnie czuła dla ojca, pochwaliłem ją za to odejściu Swanna:

— Tak, biedny papuś, to w tych dniach rocznica śmierci jego ojca. Pojmujesz, co się z nim musi dziać; tak, ty to pojmujesz, czujemy te rzeczy jednakowo. Dlatego staram się być mniej zła niż zazwyczaj.

— Ależ on ciebie nie uważa za złą, on cię uważa za doskonałość!

— Biedny papuś, bo on jest za dobry.

Państwo Swann nie tylko zachwalali mi cnoty Gilberty — tej samej Gilberty, która, zanim ją ujrzałem, objawiła mi się przed kościołem na tle pejzażu Ile-de-France, która później, już nie w moich marzeniach, ale we wspomnieniu — stała zawsze koło różowego głogu, na ścieżce wiodącej mnie w stronę Méséglise. Kiedy, siląc się przybrać obojętny ton

przyjaciela rodziny, ciekawego upodobań dziecka, spytałem jej matki, kogo z przyjaciół Gilberta najbardziej lubi, pani Swann odpowiedziała:

— Ależ pan musi być lepiej wtajemniczony ode mnie, pan, jej faworyt, wielki *crack*, jak mówią Anglicy.

Bez wątpienia, w przystawianiu tak doskonałym, kiedy rzeczywistość dociąga się i przylega dokładnie do tego, o czymśmy tak długo marzyli, kryje nam ona całkowicie przedmiot marzeń, zlewa się z nim na kształt dwóch równych i pokrywających się figur, które tworzą już wówczas tylko jedną, gdy przeciwnie my, aby dać swemu szczęściu całe jego znaczenie, chcielibyśmy zachować wszystkim owym punktom naszego pragnienia, w chwili właśnie, gdy ich dotykamy — i aby mieć większą pewność, że to są one — urok tego, że są niedosiężne. I myśl nie może nawet odtworzyć dawniejszego stanu, aby go porównać z nowym, bo nie ma już wolnego pola: zawarta znajomość, wspomnienie pierwszych nieoczekiwanych chwil, usłyszane słowa, istnieją i zatarasowują wejście do naszej świadomości, opanowują o wiele bardziej wrota naszej pamięci niż naszej wyobraźni, bardziej jeszcze oddziałują wstecz na naszą przeszłość — której nie jesteśmy już zdolni oglądać bez wzięcia ich w rachubę — niż na kształt naszej przyszłości wciąż jeszcze płynny. Mogłem wierzyć lata całe, że bywać u pani Swann to jest czcza chimera, której nie osiągnę nigdy; ale skorom spędził u niej kwadrans, znowuż czas, gdy jej nie znałem, stawał się chimeryczny i mglisty, niby możliwość unicestwiona ziszczeniem innej możliwości. Jak mógłbym jeszcze marzyć o tej jadalni jako o miejscu niepojętym, kiedy nie mogłem zrobić w swojej myśli jednego ruchu, aby nie spotkać w niej niełamliwych promieni, jakie wysyłał w nieskończoność za siebie, aż w moją najdawniejszą przeszłość, homar po amerykańsku, którego dopiero co jadłem?

I Swann musiał przeżyć, w tym, co się tyczyło jego samego, podobne wrażenia: bo ten apartament, gdzie mnie przyjmował, można było uważać za miejsce, z którym się stopił i pokrył nie tylko idealny apartament spłodzony przez moją wyobraźnię, ale jeszcze inny, ten, który zazdrośna miłość Swanna, równie wynalazcza jak moje marzenia, tak często mu opisywała. To było owo wspólne mieszkanie Odety i jego, które wydawało mu się tak nieosiągalne w jakiś wieczór, kiedy Odeta zaprosiła go do siebie z Forchevillem na oranżadę. W rozkład jadalni, gdzieśmy dziś jedli śniadanie, wsiąkł dla Swanna ów nieoczekiwany raj, w którym — niegdyś nie mógł bez wzruszenia wyobrazić sobie tego — miał powiedzieć ich kamerdynerowi te same słowa: „Czy pani jest gotowa?“, które teraz oto wymawiał z lekkim zniecierpliwieniem, a zarazem z pewną satysfakcją próżności. I jak z pewnością nie mógł tego uczynić Swann, tak ja nie umiałem objąć swego szczęścia, i kiedy sama Gilberta wykrzyknęła: „Kto by ci był powiedział, że mała dziewczynka, której się przyglądałeś bez słowa, jak grała w klasy, stanie się twoją serdeczną przyjaciółką, do której będziesz chodził co dzień, kiedy ci przyjdzie ochota“, wyrażała zmianę, którą musiałem wprawdzie stwierdzić z zewnątrz, ale której nie posiadałem wewnętrznie, składała się bowiem z dwóch stanów, których nie mogłem objąć myślą naraz, tak aby przestały być różne od siebie wzajem.

A jednak, gdybym miał o tym sądzić po sobie, owo mieszkanie, dlatego że było tak silnie upragnione przez wolę Swanna, musiało dlań zachować jakąś słodycz. Dla mnie nie straciło ono całej tajemnicy. Osobliwy czar, w którym tak długo wyobrażałem sobie skąpane życie Swannów, nie pierzchnął dla mnie całkowicie z ich domu z chwilą, gdy tam wniknął: cofnął się jedynie, pokonany przez tego obcego, tego pariasa, którym byłem dawniej, a któremu pani Swann podsuwała teraz uprzejmie fotel, fotel rozkoszny, wrogi i zgorzony; ale w moim wspomnieniu czuję jeszcze dokoła siebie ten czar. Czy to dlatego, że w dniu, kiedy mnie państwo Swann zapraszali na śniadanie, aby mnie potem wziąć z Gilbertą na spacer, wyciskałem swoim spojrzeniem — podczas gdy czekał sam — na dywanie, na berżerkach, na konsolach, na parawanikach, na obrazach, wrytą we mnie myśl, że pani Swann lub jej mąż, lub Gilberta wejdą za chwilę? Czy dlatego, że te rzeczy żyły potem w mojej pamięci obok Swannów i przejęły w końcu coś z nich? Czy dlatego, że wiedząc, iż oni żyją wśród tych sprzętów, robiłem z tych wszystkich przedmiotów niby godła ich swoistego życia, ich przyzwyczajęń, z których zbyt długo byłem wykluczony, aby mi się nadal nie wydawały obce, nawet wówczas gdy dostąpił łaski wtajemniczenia? Faktem jest, że za każdym razem, kiedy myślę o tym salonie, który Swann (nie chcąc tą krytyką w niczym krępować gustów żony) uważał za tak bezstyłowy — mimo bowiem iż

był pomyślany w stylu na wpół cieplarni, na wpół pracowni, jak ów apartament, w którym ją poznał, Odeta zaczęła zastępować cacka chińskie, trącające jej teraz tandetą, mnóstwem mebelków obitych starym jedwabiem Louis XIV (nie licząc arcydzieł, które przeniósł Swann ze swego domu na quai d'Orleans) — w moim wspomnieniu przeciwnie, ten bezstylowy salon posiada harmonię, jedność, indywidualny urok, jakich nie mają nawet najlepiej zachowane całości przekazane nam przez przeszłość, ani najbardziej żywe i naznaczone piętnem jednej osoby; jedynie my bowiem możemy, wiarą swoją we własne ich istnienie, dać pewnym oglądanym przez nas rzeczom duszę, którą zachowują później i którą w nas rozwijają.

Wszystkie pojęcia, wytworzone przeze mnie o godzinach — różnych od godzin innych ludzi — jakie Swannowie spędzają w tym mieszkaniu, będącym dla codziennego czasu ich życia tym, czym ciało jest dla duszy i co powinno wyrażać jego odrębność, wszystkie te pojęcia były stopione, złączone — wszędzie jednako niepokojące i nieuchwytnie — z rozmieszczeniem mebli, grubością dywanów, z rozkładem okien, krążeniem służby. Kiedy po śniadaniu przechodziliśmy na kawę do zalanego słońcem obszernego wykusza w salonie, gdy pani Swann pytała, ile chcę kawałków cukru, wówczas nie tylko pokryty jedwabiem podnózek, który mi podsuwała, wydzieliał (wraz z bolesnym czarem, jaki odczułem niegdyś w imieniu Gilberty — pod różowym głogiem, później koło klombu laurów) wrogość, jaką mi okazywali jej rodzice: mebelek ów musiał tak dobrze znać i podzielać tę wrogość, że nie czułem się godny — wydawało mi się to niemal czymś podłym stawiać nogi na jego bezbronnym wysłaniu; jakaś osobista dusza wiązała go sekretnie ze światłem drugiej godziny po południu, różnym od wszelkiego innego światła, w tej zatoce, gdzie ono igrało u naszych stóp falami złota, z których błękitne kanapy i puszyste dywany wylaniały się niby zaczarowane wyspy. Wszystko, nawet obraz Rubensa nad kominkiem, posiadało ten sam rodzaj, niemal tę samą potęgę czaru, jaką miały sznurowane trzewiki pana Swann i ów hawelok z peleryną (jakże pragnąłem niegdyś mieć taki!), który teraz, na prośbę pani Swann, mąż jej miał zastąpić innym, aby wyglądać bardziej elegancko, wówczas gdy „był tak uprzejmy” towarzyszyć im na spacer. I pani Swann również szła się ubrać, mimo iż zaręczałem, że żadna spacerowa suknia nie może się równać z cudownym szlafrocikiem krepdeszynowym czy jedwabnym, różowym, wiśniowym, Tiepolo, białym, lila, zielonym, czerwonym, żółtym, gładkim lub wzorzystym, w którym pani Swann jadła śniadanie i który miała zdjąć. Kiedym mówił, że powinna by wyjść tak jak jest, śmiała się, drwiąc sobie z mojej ignorancji lub rada z komplementu. Tłumaczyła się, że ma tyle peniuarów, bo — twierdziła — jedynie w nich czuje się dobrze; i zostawiała nas, aby włożyć jedną z owych tryumfalnych tualet, które dawały ton całemu światu, a wśród których miewałem wszelako przywilej wybrania szczególnie mi ulubionej.

W ogrodzie zoologicznym jakże byłem dumny, kiedyśmy wysiedli z powozu i ja kroczyłem obok pani Swann! Gdy ona szła niedbałym krokiem, a płaszcz powiewał dokoła niej, ja rzucałem na nią spojrzenia pełne podziwu, na które odpowiadała zalotnie długim uśmiechem. Obecnie, kiedyśmy spotkali kogo ze znajomych Gilberty, chłopca lub dziewczynkę, kłaniali się nam z dala, patrząc teraz na mnie jak na jedną z istot, którym niegdyś zazdrościłem, jak na jednego z przyjaciół Gilberty znających jej rodzinę i mających udział w drugiej części jej życia, tej, która się toczy poza Polami Elizejskimi.

Często w alejach Lasku lub Ogrodu Zoologicznego mijała nas, kłaniała się nam jakaś wielka dama, przyjaciółka Swanna: kiedy mu się zdarzyło jej nie zauważyć, wskazywała mu ją żona. „Karolu, nie widzisz pani de Montmorency?”. I Swann, z przyjaznym uśmiechem długiej zażyłości, składał głęboki ukłon, z elegancją właściwą tylko jemu. Czasem dama zatrzymywała się, rada, że może okazać pani Swann nieobowiązującą uprzejmość, pewna, iż Odeta nie zechce tego nadużyć, tak dalece Swann wpoił żonie zasady dyskrecji. Nie mniej Odeta przejęła wszystkie formy wielkiego świata i choćby owa dama niosła się najbardziej wykwintnie i szlachetnie, pani Swann zawsze jej w tym dorównywała; przystanąwszy chwilę z przyjaciółką męża, przedstawiała nas oboje, Gilbertę i mnie, z taką swobodą, miała tyle prostoty i spokoju w swojej grzeczności, że trudno byłoby zgadnąć, która z nich dwóch, żona Swanna czy spotkana arystokratka, jest wielką damą.

W dniu, kiedyśmy poszli oglądać Syngalezów, wracając spostrzegliśmy, idącą w naszym kierunku w towarzystwie dwóch innych pań, tworzących jakby eskortę, damę star-



szą, ale jeszcze piękną, otuloną w ciemny płaszcz, w małym kapelusiku wiązonym na wstążki pod brodą.

— A, to ktoś, kto pana zainteresuje — rzekł Swann.

Starsza dama, obecnie o trzy kroki, uśmiechnęła się do nas z pieszczotliwą słodyczą. Swann ukłonił się głęboko, pani Swann złożyła niski dyg i chciała ucałować rękę damy, podobnej do portretu Winterhaltera, która podniosła ją i uściślała.

— No, niechże pan nakryje głowę, no — rzekła do Swanna grubym, szorstkim nieco i poufale przyjacielskim głosem.

— Przedstawię pana jej Cesarskiej Wysokości — rzekła do mnie pani Swann.

Swann odciągnął mnie nieco na stronę, gdy pani Swann rozmawiała z Jej Wysokością o pogodzie i o zwierzętach świeżo sprowadzonych do ogrodu.

— To księżniczka Matylda — rzekł. — Wie pan, przyjaciółka Flauberta, Sainte-Beuve'a, Dumasa. Pomyśl pan, bratanica Napoleona II! Oświadczyli się o jej rękę Napoleon III i car rosyjski. Czy to nie interesujące? Niech pan do niej zagada. Ale wolalbym, żeby nas nie trzymała godzinę na nogach.

— Spotkałem Taine'a, który mi mówił, że się księżniczka pogniewała na niego — rzekł Swann.

— Postąpił sobie jak świnia — rzekła szorstkim głosem, wymawiając „*cauchon*”, tak jakby to było nazwisko biskupa współczesnego Joannie d'Arc. — Po artykule, jaki napisał o Cesarzu, przesałem mu bilet z „*p. p. c.*”.

Odczułem to zdumienie, jakiego się doznaje, otwierając korespondencję księżnej orleańskiej, z domu księżniczki Palatynatu, bratowej Ludwika XIV. I w istocie, księżniczka Matylda, ożywiona uczuciami tak bardzo francuskimi, wkładała w nie uczciwą szorstkość dawnych Niemiec, odziedziczoną może po matce, księżniczce wirtemburskiej. Szczęrość tę, nieco rubaszną i prawie męską, łagodził, kiedy się uśmiechała, włoski wdzięk. A wszystko było spowite w tualietę tak bardzo „drugie cesarstwo”, że, mimo iż księżniczka nosiła ją z pewnością jedynie przez przywiązanie do mód, jakie niegdyś lubiła, robiło to wrażenie, iż świadomie strzeże się popełnić błąd w historycznym kolorycie, aby nie zawieść oczekiwania tych, co spodziewali się po niej wskrzeszenia innej epoki.

Szepnąłem Swannowi, aby ją zapytał, czy znała Musseta.

— Bardzo mało, szanowny panie — odparła z miną, która udawała dąs, gdy w istocie przez żart mówiła tak do Swanna, będąc z nim bardzo zażyłe. — Był u mnie raz na obiedzie. Zaprosiłam go na siódmą. O wpół do ósmej, gdy go nie było, siedliśmy do stołu. Przyszedł o ósmej, ukłonił mi się, siada, nie otwiera ust, odchodzi po obiedzie, tak że nie usłyszałam jego głosu. Był pijany w sztok. To mnie nie bardzo zachęciło na przyszłość.

Staliśmy ze Swannem trochę z boku.

— Mam nadzieję, że się ten postój nie przeciągnie — rzekł do mnie — podeszwy mnie bolą. Nie wiem, po co żona podsyca rozmowę. Potem to ona będzie się skarżyła, że jest zmęczona; a ja nie mogę już znosić tych pogwarek stojący<sup>45</sup>.

W istocie, pani Swann (która miała tę wiadomość od pani Bontemps) opowiadała właśnie księżniczce, że rząd, zrozumiawszy wreszcie swoje chamstwo, zamierzał posłać jej zaproszenie na trybunę podczas jutrzejszej wizyty cara Mikołaja u Inwalidów. Ale księżniczka, która, mimo pozorów, mimo stylu jej otoczenia, złożonego zwłaszcza z artystów i literatów, została w gruncie, ilekroć chodziło o jakąś decyzję, bratanicą Napoleona, rzekła:

— Owszem, tak, otrzymałam zaproszenie dziś rano i odesłałam je panu ministrowi; musiał je już dostać. Napisałam mu, że nie potrzebuję zaproszenia, aby iść do Inwalidów. Jeżeli rząd chce, abym tam była, będę, ale nie na trybunie, tylko w naszej krypcie, gdzie jest grób cesarza. Na to nie potrzebuję karty wstępu. Mam klucze. Wchodzę, kiedy chcę. Niech tylko rząd zawiadomi mnie, czy chce, żebym przyszła, czy nie. Ale jeżeli przyjdę, to tam, albo wcale.

W tej chwili ukłonił się nam młody człowiek, który pozdrowił panią Swann, nie zatrzymując się. Nie wiedziałem, że ona go zna: był to Bloch. Na moje zapytanie, pani Swann odrzekła, że go jej przedstawiła pani Bontemps; że jest przydzielony do gabinetu

<sup>45</sup>stojący — dziś: na stojący. [przypis edytorski]

ministra, o czym nie wiedziałem. Zresztą nie musiała go widywać często — lub nie chciała wymieniać nazwiska *Bloch*, które jej się może wydało nie dość szykowne, bo powiedziała, że się nazywa pan Moreul. Zapewniłem ją, że się myli, że nazywa się Bloch.

Księżniczka odwinęła tren, który się skręcił za nią, a na który pani Swann patrzyła z podziwem.

— To właśnie futro, które cesarz rosyjski mi przysłał w prezencie — rzekła księżniczka — że zaś byłam u niego przed chwilą, włożyłam je, aby mu pokazać, że to się nadało na płaszcz.

— Zdaje się, że książę Ludwik zaciągnął się do armii rosyjskiej; przykro będzie księżniczce nie mieć go przy sobie — rzekła pani Swann, nie widząc oznak niecierpliwości męża.

— Potrzeba mu było tego! Mówiłam mu: to nie żadna racja, dlatego że miałeś wojskowego w rodzinie — odparła księżniczka, robiąc z tą szorstką prostotą aluzję do Napoleona I.

Swann nie mógł już ustać.

— Księżniczko, to ja pozwolę sobie zabawić się w Cesarską Wysokość i prosić o pozwolenie pożegnania się, ale żona moja była bardzo cierpiąca i nie chcę, żeby stała dłużej.

Pani Swann złożyła głęboki ukłon, a księżniczka znalazła dla nas wszystkich boski uśmiech, jak gdyby wskrzeszony z przeszłości, z wdzięku młodych lat, z wieczorów w Compiègne; uśmiech ten, świeży i słodki, spłynął po twarzy nadąsanej przed chwilą; po czym oddaliła się w towarzystwie swoich dwóch dam, które, na sposób tłumaczy lub pielęgniarek, punktowały jedynie naszą rozmowę nieznaczącymi zdaniem lub zbytecznymi wyjaśnieniami.

— Powinien by się pan zapisać u niej jeszcze w tym tygodniu — rzekła pani Swann — nie rzuca się biletów tym wszystkim *królestwom*, jak mówią Anglicy; ale jeżeli się pan zapisze, zaprosi pana.

Czasami w te ostatnie zimowe dni zachodziliśmy przed spacerem na którąś z małych wystaw organizowanych wówczas; Swanna, znanego zbieracza, witali właściciele salonów ze szczególnym uszanowaniem. I w te zimowe jeszcze dni dawne moje pragnienia podróży na południe i do Wenecji budziły się w owych salach, gdzie pełna już wiosna i gorące słońce kładły fioletowe tony na różowych Alpach i dawały Canale Grande ciemną przejrzystość szmaragdu. Jeżeli było brzydko, szliśmy na koncert lub do teatru, a potem na podwieczorek do *tee-roomu*. Kiedy pani Swann chciała mi powiedzieć coś tak, aby gości przy sąsiednich stolikach lub nawet garsoni nie zrozumieli, mówiła po angielsku, jak gdyby to był język znany tylko nam dwojgu. Otóż wszyscy (z wyjątkiem mnie) umieli po angielsku i musiałem to powiedzieć pani Swann, iżby przestała o osobach pijących herbatę lub usługujących robić uwagi, o których, chociaż ich nie rozumiejąc, wiedziałem, że są przykre, i widziałem, że osoby interesowane nie tracą z nich ani słowa.

Jednego razu z powodu popołudniowego spektaklu w teatrze, Gilberta zdumiała mnie głęboko. Było to właśnie owego dnia, o którym mówiła mi zawczasu, jako o rocznicy śmierci jej dziadka. Mieliliśmy, wraz z jej nauczycielką, iść na jakieś fragmenty opery. Gilberta ubrała się do wyjścia, zachowując ową obojętną minę, jaką miała zawsze wobec każdego projektu; zawsze powtarzała, że jej jest wszystko jedno, co robimy, byle mnie się to podobało i byle było zgodne z życzeniem rodziców. Przed śniadaniem pani Swann wzięła nas na bok, aby powiedzieć córce, iż ojcu jest bardzo przykro, że my się wybieramy tego dnia na koncert. Uważałem, że to jest aż nazbyt zrozumiałe. Gilberta nie okazała nic, ale zbladła z gniewu, którego nie mogła ukryć, i nie rzekła ani słowa. Kiedy Swann wrócił, żona odciągnęła go w kąt salonu i szeptała mu coś do ucha. Zawołał Gilbertę i wziął ją do sąsiedniego pokoju. Słychać było podniesione głosy. Ale nie mogłem uwierzyć, aby Gilberta, taka uległa, taka czuła, taka grzeczna, opierała się prośbie ojca, w taki dzień i dla tak błahej przyczyny. W końcu Swann wyszedł, mówiąc:

— Wiesz, co ci powiedziałem. Teraz rób, co zechcesz.

Twarz Gilberty pozostała chmurna przez całe śniadanie, po którym udaliśmy się do jej pokoju. Po czym nagle, bez wahania i tak, jakby się nie wahała ani przez chwilę, wykrzyknęła:

— Druga godzina! wie pani przecie, że koncert zaczyna się o wpół do trzeciej.

I kazała nauczycielce się spieszyć.

— Ale — rzekłem — czy to nie zrobi przykrości twojemu ojcu?  
— Ani trochę.  
— Jednakże on się bał, żeby to się nie wydawało dziwne z powodu tej rocznicy.  
— Co mnie może obchodzić, co inni myślą? Uważam, że to jest śmieszne zajmować się drugimi w sprawach uczucia. Czuje się dla siebie, nie dla publiczności. *Mademoiselle*, która ma mało rozrywek, cieszyła się na ten koncert, nie pozbawię jej tego dla przyjemności obcych.

Włożyła kapelusz.

— Gilberto — rzekłem, biorąc ją za ramię — to nie dla obcych, ale dla ojca.

— Nie będziesz mi robił uwag, mam nadzieję! — krzyknęła twardo, wyrывая się.

Przywilejem jeszcze cenniejszym od wypraw do Ogrodu Zoologicznego lub na koncert, było to, że Swannowie nie wykluczyli mnie ze swojej przyjaźni z Bergottem. Przyjaźń ta była początkiem czaru, jaki w nich znajdowałem, myśląc — nim jeszcze znałem Gilbertę — że jej zażyłość z boskim starcem uczyniłaby z niej najpożądaną z przyjaciółek, gdyby wzgarda, jaką musiałem w niej budzić, nie broniła mi nadziei, że mnie kiedy weźmie z Bergottem na zwiedzanie miast, które on lubił. Otóż jednego dnia pani Swann zaprosiła mnie na wielkie śniadanie. Nie wiedziałem, kto ma być na nim. Kiedym wszedł, zaskoczyła mnie w hallu przygoda, która mnie onieśmieliła. Pani Swann rzadko wyrzekała się przyjęcia zwyczajów, które uchodzą za wykwintne przez jeden sezon i, nie mogąc się utrzymać, szybko mijają (i tak, wiele lat przedtem, miała swój *handsome cab* lub dawała drukować na zaproszeniu, że to będzie „*to meet*” jakąś mniej lub więcej wybitną osobę). Często zwyczaj te nie miały nic tajemniczego i nie wymagały objaśnienia. Tak na przykład — była to nikła nowość, importowana w owych latach z Anglii — Odeta sprawiła mężowi bilety, na których nazwisko Karol Swann poprzedzone było przez „*Mr*”. Po pierwszej wizycie, jaką im złożyłem, pani Swann przesłała mi taki zagięty „karton”, jak mówiła. Nigdy mi nikt nie zostawił biletu; byłem tak dumny, wzruszony, wdzięczny, że, gromadząc wszystkie pieniądze, jakie posiadałem, zamówiłem wspaniały kosz kamelii i posłałem go pani Swann. Błagałem ojca, aby jej rzucił bilet, ale zamówiwszy wprzód takie, na których byłoby przed jego nazwiskiem „*Mr*”. Ojciec nie spełnił żadnej z tych próśb; byłem w rozpacz przez kilka dni, a potem zastanowiłem się, czy ojciec nie miał racji. Ale używanie „*Mr*”, o ile było zbyteczne, było jasne. Mniej jasny był inny zwyczaj, który objawił mi się w dniu tego śniadania, ale nie opatrzone komentarzem. W chwili gdy miał przejść z przedpokoju do salonu, kamerdyner wręczył mi długą i wąską kopertę, na której widniało moje nazwisko. Zdziwiony, podziękowałem mu, patrząc równocześnie na kopertę. Nie wiedziałem, co mam z nią robić, jak cudzoziemiec nie wie, co ma począć z owymi małymi przyrządami, podawanymi gościom do obiadu w Chinach. Ujrzałem, że koperta jest zaklejona; bałem się okazać niedyskretny, otwierając ją zaraz; włożyłem ją z inteligentną miną do kieszeni. Pani Swann napisała mi kilka dni przedtem, żebym przyszedł na śniadanie „w małym kółku”. Było jednak szesnaście osób; nic nie wiedziałem, że pomiędzy nimi znajduje się Bergotte. Pani Swann, która mnie przedstawiła kilku osobom, naraz, po moim nazwisku, takim samym tonem (ot, jak gdybyśmy byli po prostu dwoma gośćmi, którzy będą jednako zadowoleni z wzajemnego poznania się) wyrzekała nazwisko słodkiego Śpiewaka o białych włosach. To nazwisko *Bergotte* wstrząsnęło mną jak wystrzał z rewolweru; ale instynktownie, dla zachowania kontenansu, skłoniłem się; na wprost mnie, jak owi prestidigitatorzy, gdy ukazują się nietknięci i w tużurku w dymie wystrzału, z którego ulatuje gołąbek, oddał mi ukłon człowiek młody, tęgi, mały, barczysty i krótkowzroczny, z czarną bródką i z czerwonym nosem skręconym w kształt muszli ślimaka.

Byłem śmiertelnie smutny, bo oto rozsypał się w proch nie tylko tęskny starzec, z którego nie zostało już nic, lecz także piękność olbrzymiego dzieła, którą mogłem pomieścić w wątłym i świętym organizmie, wzniesionym niby świątynia umyślnie dla tego dzieła, ale dla której nie było miejsca w krępych, pełnym naczyń krwionośnych, kości i zwojów ciele małego człowieczka ze spłaszczonym nosem i z czarną bródką, jakiego miałem przed sobą. Cały Bergotte, którego powoli i delikatnie wypracowałem sam, kropla po kropli, niby stalaktyt, wraz z przezroczystym pięknem jego książek, ten Bergotte stawał się nagle czymś bezprzedmiotowym, z chwilą gdy trzeba mu było zachować zakręcony nos i zużyty-

kować czarną bródkę; tak jak się staje do niczego rozwiązanie problemu, którego dane odczytaliśmy niedokładnie i nie licząc się z tym, że suma miała dać jakąś określoną cyfrę. Nos i bródka stanowiły elementy równie nieuchronne i tym bardziej krępujące, ile że, zmuszając mnie do całkowitego przebudowania osobistości Bergotte'a, zdawały się wciąż jeszcze zawierać, produkować, wydzielać pewien rodzaj inteligencji czynnej i zadowolonej z siebie, co było nie w porządku, bo ta inteligencja nie miała nic wspólnego z duchem rozlanym w jego książkach, tak dobrze mi znanych, nasyconych łagodną i boską mądrością. Wychodząc z książek, nigdy nie byłbym doszedł do tego skręconego nosa; ale biorąc za punkt wyjścia ten nos, który, jakby nie troszcząc się o to, spoglądał w świat z kawalerską fantazją, szedłem w zupełnie innym kierunku niż dzieło Bergotte'a; dotarłbym raczej do jakiejś charakterystyki spieszącego się inżyniera, z gatunku tych, którzy, kiedy się im uklonić, uważają za właściwe powiedzieć: „Dziękuję, a pan?“, zanim się ich ktoś spyta o zdrowie; a kiedy im ktoś powie, że jest szczęśliwy z ich poznanie, odpowiadają skrótem, który uważają za taktowny, inteligentny i nowoczesny, ile że nie marnuje cennego czasu na czcze formułki: „Nawzajem”.

Bez wątpienia, nazwiska, nazwy, to są fantazyjni rysownicy, kreślący nam szkice ludzi i krajów tak mało podobne, że często jesteście zdumieni, kiedy ujrzemy przed sobą, zamiast świata wyrojonego, świat widzialny (który zresztą nie jest światem rzeczywistym, bo zmysły nasze posiadają nie o wiele więcej daru chwytania podobieństw niż wyobrażenia, tak iż rysunki możliwie zbliżone do rzeczywistości, są co najmniej równie odmienne od widzialnego świata, ile ten był odległy od świata urojonego). Ale co się tyczy Bergotte'a, kłopot z uprzednim nazwiskiem był niczym, w porównaniu z kłopotem, jaki mi sprawiało znane mi dzieło, do którego musiałem przywiązać, niby do balonu, człowieka z bródką, nie wiedząc, czy balon zachowa siłę wzniesienia. A przecież zdawało się, że to on napisał te książki, które tak ukochałem, bo kiedy pani Swann czuła się w obowiązku oznajmić mu mój kult dla jednej z nich, jegomość ów nie okazał się wcale zdumiony tym, że powiedziała to jemu, a nie innemu z gości, i nie zdawał się widzieć w tym omyłki; ale, wypełniając tużurek, który włożył na cześć zebranych, ciałem łaknącym bliskiego śniadania, z głową zajęta innymi ważnymi realnościami, przyjął to jakby miniony epizod swego dawniejszego życia; ot tak, jakby ktoś zrobił aluzję do kostiumu księcia de Guise, jaki on, Bergotte, miał któregoś roku na balu kostiumowym; uśmiechnął się, wracając myślą do swoich książek, które natychmiast spadły dla mnie (pociągając w swoim upadku całą wartość Piękna, świata, życia) do jakiejś miernej rozrywki człowieka z bródką. Powiadałem sobie, że musiał w nie włożyć dużo pracy, ale że, gdyby był żył na wyspie otoczonej ławicami perłowych ostryg, oddałby się tam z powodzeniem handlowi perel. Dzieło jego nie wydało mi się już tak nieuniknione. I wówczas zapytywałem sam siebie, czy oryginalność naprawdę dowodzi, że wielcy pisarze są jak bogowie władający każdy w wyłącznie swoim i własnym królestwie i czy nie ma w tym wszystkim trochę udania; czy różnice między utworami nie są raczej wynikiem pracy niż wyrazem zasadniczych różnic w substancji danych osobowości.

Tymczasem przeszliśmy do stołu. Przy swoim talerzu znalazłem goździk, z łodygą zawiniętą w srebrny papier. Mniej mnie to zakłopotało niż koperta doręczona w przedpokoju, o której zupełnie zapomniałem. Zwyczaj, mimo iż dla mnie tak nowy, stał mi się zrozumiały, kiedy ujrzałem, że wszyscy goście biorą podobne goździki, spoczywające przy każdym nakryciu, i wpinają je sobie w butonierki. Zrobiłem jak oni, z ową swobodną miną wolnomyśliciela w kościele, który nie zna porządku mszy, ale wstaje, kiedy wszyscy wstają, i przyklęka w chwilę po wszystkich. Inny zwyczaj, nieznan mi a trwalszy, mniej mi się podobał. Po drugiej stronie mojego talerza znajdował się mniejszy talerzyk, napełniony czarną masą, w której nie odgadłem kawioru. Nieświadom, co z tym trzeba zrobić, postanowiłem jednak w duchu tego nie jeść.

Bergotte siedział niedaleko mnie, słyszałem doskonale jego słowa. Zrozumiałem wówczas wrażenie pana de Norpois. Miał w istocie dziwny organ; nic tak nie zmienia fizycznych właściwości głosu jak to, że zawiera myśl: wpływa to na dźwięczność dwugłosek, na energię dźwięków wargowych. I na dykcję. Dykcja Bergotte'a wydawała mi się zupełnie różna od jego sposobu pisania; a nawet to, co mówił, różne od tego, co wypełniało jego dzieła. Ale głos wychodzi z maski, spod której nie od razu może nam zdradzić twarz, jaką oglądaliśmy bez osłonek w stylu pisarza. W pewnych momentach, w których Bergotte

zwykł był mówić w sposób mogący się wydać afektowanym i niemłym nie tylko panu de Norpois, długo nie mogłem odkryć ścisłego związku z partiami jego książek, gdzie forma staje się tak poetyczna i melodyjna. Wówczas w tym, co mówił, Bergotte widział piękność plastyczną, niezależną od treści zdań; że zaś słowo ludzkie jest w związku z duszą, ale nie wyraża jej jak styl, robił wrażenie, że mówi niemal na wspak sensowi, psalmodiując niektóre słowa i — jeżeli rozstrzygał w nich jeden obraz — ciągnąc je bez przerwy jak jeden dźwięk z nużącą monotonią. Tak iż pretensjonalny, przesadny i monotony sposób mówienia był znakiem estetycznej jakości jego słów i był w jego rozmowie wyrazem tej samej władzy, jaka stworzyła w jego książkach ciągłość obrazów i harmonię.

Było mi zrazu tym trudniej się w tym rozeznać, ile że to, co mówił w owych chwilach, właśnie dlatego, że to mówił naprawdę Bergotte, nie robiło wrażenia Bergotte'a. Była to obfitość myśli ścisłych, niemieszczących się w owym „stylu Bergotte”, jaki przyswoiło sobie wielu felietonistów; i ta odmienność — widziana mętnie poprzez konwersację, niby obraz przez okopcone szkło — była prawdopodobnie innym obliczem tego faktu, że kiedy się czytało stronicę Bergotte'a, nie była ona nigdy tym, co byłby napisał któryś z owych płaskich naśladowców, strojących wszelako, w dziennikach i w książkach, swoją prozę tyłoma obrazami i myślami *à la Bergotte*. Owa różnica w stylu pochodziła stąd, że istotny „Bergotte” był przede wszystkim jakimś cennym i prawdziwym składnikiem, ukrytym w sercu danej rzeczy, a następnie wydobyty z niej przez tego wielkiego pisarza mocą jego talentu; i właśnie to wydobywanie było celem słodkiego Śpiewaka, nie zaś robienie Bergotte'a. Prawdę rzekłszy, robił go mimo woli przez to, że był Bergotte'em i że w tym sensie każda nowa piękność jego dzieła była małą dawką Bergotte'a utajoną w danej rzeczy i wydobytą przez niego. Ale o ile każda z tych piękności była przez to spokrewniona z innymi i rozpoznawalna, została mimo to odrębna jak odkrycie, które ją dobioło na jaw; nowa, a tym samym różna od tego, co nazywano „stylem Bergotte”, będącym mętną syntezą „Bergotte'ów” już znalezionych i zredagowanych przez niego, a zgoła niepozwalających ludziom przeciętnym zgadnąć, co by on odkrył gdzie indziej. Tak jest ze wszystkimi wielkimi pisarzami, piękno ich stylu jest nieprzewidywane, jak piękność kobiety, której się nie zna jeszcze; jest tworzeniem, skoro się ściąga do zewnętrznego przedmiotu, o którym oni myślą — nie zaś o sobie — i którego jeszcze nie wyrazili. Autor dzisiejszych pamiętników, gdy zechce bez ostentacji robić Saint-Simona, może od biedy nakreślić pierwszy wiersz portretu Villarsa: „Był to dość słuszny mężczyzna, brunet z fizjonomią żywą, otwartą, wyrazistą”, ale jakież determinizm pozwoli mu znaleźć drugi wiersz, zaczynający się od: „i jak gdyby trochę pomyloną”! Prawdziwa różnorodność tkwi w tej pełni elementów rzeczywistych i niespodzianych; w obciążonej błękitnymi kwiatami gałęzi, strzelającej, wbrew wszelkiemu spodziewaniu, z wiosennego żywopłotu, który zdawał się już nasycony; gdy czysto formalne naśladowanie różnorodności (a rozumowanie to można by przenieść na wszystkie inne właściwości stylu) wydaje jedynie pustkę i jednostajność, to znaczy rzecz najbardziej przeciwną różnorodności, a jeżeli może w tej imitacji dać jej złudzenie i przypominać ją, to chyba temu, kto nie rozumiał jej u mistrzów.

Toteż — jak dykcja Bergotte'a budziłaby z pewnością zachwyt, gdyby on sam był tylko jakimś amatorem recytującym rzekomego Bergotte'a, zamiast żeby była zespolona z myślą Bergotte'a w ruchu i w czynie związkami witalnymi, nie od razu wyczuwalnymi dla ucha — tak samo, ponieważ Bergotte stosował ściśle tę myśl do wybranej przezeń rzeczywistości, słowa jego miały coś pozytywnego, przekrwionego, co sprawiało zawód tym, którzy spodziewali się, że on będzie mówił tylko o „wiekuistym strumieniu złudy” i o „tajemniczych dreszczach piękna”. Rzadkość wreszcie i nowość jego stylu wyrażały się w rozmowie tak subtelnym sposobem ujmowania zagadnień, z pominięciem wszystkich już znanych fizjonomii, iż robiło to wrażenie, że on bierze każdą rzecz od strony jakiegoś drobiazgu, że mijają się z jej istotą, że się bawi w paradoksy; tym samym myśli jego najczęściej zdawały się mętne, gdyż każdy nazywa jasnymi myślami te, które posiadają ten sam stopień mętności co jego własne. Ponieważ zresztą warunkiem wszelkiej nowości jest uprzednie wyeliminowanie szablonu, do któregośmy przywykli i który nam się wydaje samą rzeczywistością, wszelka nowa rozmowa, jak wszelkie oryginalne malarstwo lub muzyka, wyda się zawsze wysiłona i męcząca. Zasadza się ona na obrazach, do których nie jesteśmy przyzwyczajeni; wydaje się nam, że ktoś mówi samymi przenośniami,

co nuży i daje wrażenie sztuczności. (W gruncie, dawne formy były również niegdyś obrazami trudnymi do uchwycenia, gdy słuchacz nie znał jeszcze świata, jaki malowały. Ale od dawna wyobrażamy sobie, że to był świat rzeczywisty, polegamy na nim). Toteż kiedy Bergotte — co się dziś wydaje bardzo proste — powiedział o doktorze Cottard, że to jest „nurek Kartezjusza” szukający równowagi, a o Brichocie, że „ma więcej jeszcze od pani Swann kłopotu z fryzurą, bo pochłonięty naraz swoim profilem i swoją reputacją, musi nieustannie pilnować, aby jego koafiura dawała mu równocześnie minę lwa i filozofa”, szybko czuło się zmęczenie i chciało się odpocząć na czymś konkretniejszym, co znaczyło po prostu: *zwyczajniejszym*. Te obce mi słowa, wychodzące z maski, jaką miałem przed sobą, trzeba mi było odnieść do pisarza, któremu podziwiał; nie dałoby się ich włożyć w jego książki na sposób owych *puzzle*, które wstawia się w inne: były na innym planie i wymagały transpozycji. Tym samym, kiedy raz powtarzałem sobie słowa słyszane z ust Bergotte’a, odnalazłem w nich całą konstrukcję jego pisanego stylu, z którego mogłem rozpoznać i określić rozmaite partie w tym mówionym eseju, wprzód dla mnie tak odmiennym.

Nawiasem mówiąc, specjalny, trochę zbyt staranny i dobitny sposób, w jaki Bergotte podkreślał niektóre słowa, niektóre przymiotniki często wracające w jego ustach i które wymawiał nie bez pewnej emfazy, wybijając wszystkie sylaby i dając coś śpiewnego ostatniej (na przykład w słowie *visage*, którego używał zawsze zamiast *figure* i któremu przydawał wielką obfitość v, s, g, jak gdyby eksplodujących naraz w jego otwartej wówczas dłoni), odpowiadał ściśle akcentowi, jakim w swojej prozie uwydatniał owe ulubione słowa, poprzedzając je rodzajem marginesu i oprawiając je w całość zdania w ten sposób, że trzeba było koniecznie pod grozą rytmicznego błędu — wydobyć całą ich wartość. Mimo to, nie odnajdywało się w mowie Bergotte’a owego oświecenia, które w jego książkach (jak również u pewnych innych autorów) zmienia często w pisanym zdaniu wygląd słów. To zapewne stąd, że światło to płynie z wielkiej głębi i nie dosięga swymi promieniami naszych słów w godzinach, gdy, udzielając się w rozmowie innym, stajemy się poniekąd zamknięci dla siebie. Pod tym względem, Bergotte miał więcej intonacji, więcej akcentów w książkach niż ustnie; akcentów niezależnych od piękności stylu i których sam autor zapewne nie czuł, ile że są one nieoddzielne od jego najtajemniejszej osobowości. To ten akcent, w chwili gdy Bergotte był w swoich książkach zupełnie naturalny, dawał rytm często bardzo nieznaczącym słowom. Akcent ten nie jest zaznaczony w tekście, nic go nie wskazuje, mimo to udziela się on sam z siebie okresom, nie można ich wygłosić inaczej; akcent ten jest u pisarza czymś najbardziej ulotnym, a przecież najgłębszym; on będzie świadczył o jego naturze, on powie, czy mimo wszystkich twardych prawd, jakim dał wyraz, pisarz był ludzki; czy mimo wszystkich zmysłowości był sentymentalny.

Niektóre cechy wysłowienia, istniejące w rozmowie Bergotte’a w postaci wątego śladu, nie były ściśle jego własnością; kiedy poznałem później jego braci i siostry, odnalazłem je u nich, zaakcentowane o wiele silniej. Było to coś jakby szorstkiego i chrapliwego w ostatnich słowach wesołej myśli, coś omdlałego, gasnącego z końcem smutnej frazy. Swann, który znał Mistrza, gdy ten był dzieckiem, powiedział mi, że wówczas miał on, jak jego rodzeństwo, owe akcenty, można rzec, rodzinne: krzyki naglej wesołości, to znów szepty cichej melancholii, i że w pokoju, gdzie się bawili razem, on lepiej niż ktokolwiek z braci wykonywał swoją partię w ich ogłuszających na przemian i marzących koncertach. Wszelki taki dźwięk — choćby najbardziej własny — wydzielający się z istot, jest ulotny i nie przetrwa ich. Inaczej było z dykcją Bergotte’ów. Bo o ile trudno jest zrozumieć kiedykolwiek, nawet w *Meistersängerach*, w jaki sposób artysta może stworzyć muzykę, słuchając szczebiotu ptaków, Bergotte przecież wcielił i utrwalił w swojej prozie tę manierę kołysania słów, powtarzających się w krzykach radości lub ociekających westchnieniami smutku. Są w jego książkach spadki zdań, gdzie natłok dźwięków przedłuża się niby ostatnie akordy uwertury, która, jakby nie mogąc się skończyć, wiele razy powtarza ostatnią kadencję, zanim dyrygent odłoży pałeczkę; odnalazłem w nich później muzyczny równoważnik krtaniowych trąbek rodziny Bergotte. Ale co do niego samego, od chwili gdy przeniósł te akcenty w książki, nieświadomie przestał ich używać w mowie. Od dnia, gdy zaczął pisać, a tym bardziej później, kiedy go poznałem, głos jego zdezorkiestrował się na zawsze.

Ci młodzi Bergotte — przyszły pisarz i jego rodzeństwo — nie przerastali wcale — raczej przeciwnie — innych młodych ludzi, subtelniejszych, inteligentniejszych, którym klan Bergotte wydawał się hałaśliwy, nawet trochę pospolity, drażniący w swoich żartach, stanowiących w pół pretensjonalny, w pół wygłupiający się styl tego domu. Ale geniusz, a nawet wielki talent, rodzi się nie tyle z czynników intelektualnych, subtelniejszych i wartościowszych niż u innych ludzi, ile ze zdolności przeobrażania, transponowania tych czynników. Aby ogrzać płyn lampą elektryczną, nie chodzi o to, aby mieć lampę możliwie najsilniejszą, ale aby mieć taką, której prąd, przestając oświetlać i zmieniając łożysko, byłby zdolny zamiast światła dawać ciepło. Aby latać w przestworzach, nie jest potrzebny automobil najsilniejszy, ale taki, który, przestając biec po ziemi i przecinając prostopadłą linią drogę swego pędu, byłby zdolny zmienić horyzontalną chyżość na siłę wlotu. Tak samo ludźmi zdolnymi wydać genialne dzieła nie są ci, co żyją w najsubtelniejszym środowisku, najświetniejsi w rozmowie, najbogatsi w kulturę, ale ci, co, przestając nagle żyć dla samych siebie, zdołali uczynić swoją osobowość podobną zwierciadłu, tak że ich życie, przy całej swojej towarzyskiej, a choćby intelektualnej miernocie, odbija się w nim. Geniusz polega tu na sile odbijającej, nie na swoistej wartości odbitego przedmiotu. W dniu, gdy młody Bergotte zdołał pokazać swoim czytelnikom mieszczkański salon, w którym spędził dzieciństwo i niezabawne rozmowy, jakie tam prowadził z braćmi, w tym dniu wznosił się wyżej od przyjaciół swojej rodziny, inteligentniejszych i wytworniejszych; ci, w swoich pięknych rolls-royce'ach, mogli, wróciwszy do domu, natrzasać się nieco z pospolitości Bergotte'ów; ale on, na swoim skromnym aparacie, który się wreszcie „odziemił”, bujał ponad nimi.

Inne rysy wysłowienia miał Bergotte wspólne nie z członkami własnej rodziny, ale z niektórymi pisarzami swojej epoki. Młodszy, którzy zaczynali się go zapierać i przeczyć wszelkiemu z nim duchowemu pokrewieństwu, zdradzali je niechcący, używając tych samych przysłówków, tych samych przymków, które on powtarzał bez ustanku; budując zdania w ten sam sposób, mówiąc na tym samym ścisłym i matowym tonie, przez reakcję przeciw łatwej swadzie poprzedniego pokolenia. Może ci młodzi ludzie — ujrzymy, że byli i tacy — nie znali Bergotte'a. Ale jego sposób myślenia, raz im zaszczerpiony, rozwinął w nich te właściwości składni i akcentu, będące w nieodzownym związku z oryginalnością myśli. Stosunek ten wymaga zresztą komentarza. I tak, Bergotte, o ile nie zawdzięczał nic nikomu w swoim sposobie pisania, sposób mówienia przejął od jednego z dawnych kolegów, cudownego *causeura*, którego wpływowi uległ, którego bezwiednie naśladował w rozmowie, ale który, mniej utalentowany od niego, nigdy nie napisał naprawdę tegiej książki. Tak iż, gdyby się opierać na oryginalności wysłowienia, uznano by Bergotte'a za satelitę, za naśladowcę, gdy on, ulegając wpływowi przyjaciela w sferze konwersacji, był oryginalny i twórczy jako pisarz. I kiedy Bergotte chciał pochwalić jakąś książkę, wówczas — z pewnością dlatego, aby się odgrodzić od poprzedniego pokolenia, zbyt zamilowanego w abstrakcjach, w szumnych komunałach — podkreślał i cytował z niej zawsze jakąś scenę szczególnie plastyczną, jakiś obraz bez treściowego znaczenia. „Och, tak! — powiadał — to bardzo tegie! jest tam mała dziewczynka w pomarańczowym szalu, kapitalne<sup>46</sup>!”. Co się tyczy stylu, Bergotte nie był całkowicie pisarzem swojej epoki (przy czym był bardzo wyłącznie pisarzem swego kraju, nienawidził Tołstoja, George'a Eliota, Ibsena i Dostojewskiego), bo słowem, które nastęczało mu się zawsze, kiedy chciał pochwalić jakiś styl, było: „łagodny, miękki”. „Owszem, wolę mimo wszystko Chateaubrianda z *Atali* niż z *Renégo*, wydaje mi się miękki”. Mówił to tak, jak lekarz, którego chory zapewnia, że mleko szkodzi mu na żołądek, a on odpowiada: „To przecież bardzo łagodne”. I faktem jest, że w stylu Bergotte'a jest jakaś harmonia, podobna tej, za którą starożytni chwalili niektórych swoich mówców; które to pochwały dość trudne są do odczucia dla nas, przywykłych do naszego nowoczesnego języka, nie szukającego tego rodzaju efektów.

Mówił też z nieśmiałym uśmiechem o własnych książkach, gdy się ktoś zachwycał jakimś ustępem: „Tak, sądzę, że to jest dosyć prawdziwe, dosyć ścisłe, to może być użyteczne”; ale czynił to po prostu przez skromność, jak kobieta, której mówią, że jej suknia

<sup>46</sup> *Och (...) kapitalne* — w wyd. popr. (PIW, Warszawa 1965) tłumaczenie uzupełnione w tym miejscu o następujące zdanie: „Albo: »Ach! Jest tam jedno miejsce, gdzie mowa o pulku, który przechodzi przez miasto. Wspaniale!«”. [przypis edytorski]

albo córka jest urocza, odpowiada o sukni: „Wygodna jest”, a o córce: „Ma dobry charakter”. Ale Bergotte miał zbyt silny zmysł konstrukcji, aby nie wiedzieć, iż jedynym dowodem, że budował użytecznie i w prawdzie, jest radość, jaką mu dało jego dzieło — najpierw jemu, a potem drugim. Jedynie w wiele lat potem, kiedy już postradał talent, za każdym razem, kiedy napisał coś, z czego nie był zadowolony, wówczas, aby nie przekreślać tego (jak był powinien), aby to oddać do druku, powtarzał — tym razem samemu sobie: „Ostatecznie, to jest dosyć prawdziwe, to nie będzie bez pożytku dla kraju”. Tak, iż frazes szeptany niegdyś wielbicielom przez komedię skromności, szeptał później, w tajni jego serca, niepokój ambicji. I te same słowa, które służyły Bergotte’owi za zbyt uczynną wymówkę wartości jego pierwszych dzieł, stały się mu poniekąd bezsilną pociechą w mierności ostatnich utworów.

Pewna surowość smaku, płynąca z chęci nie napisania czegoś, o czym by nie można powiedzieć, że jest „miękkie”, i sprawiająca, że Bergotte tyle lat uchodził za pisarza bezpłodnego, mizdrzącego się, cyzelatora błahostek, była przeciwnie tajemnicą jego siły. Przyzwyczajenie stwarza równie dobrze styl pisarza jak charakter człowieka, i autor, który wiele razy zadowolili się tym, aby osiągnąć w wyrazie swojej myśli pewnego wdzięku, określa w ten sposób na zawsze granice swego talentu, tak jak ulegając często przyjemności, lenistwu, obawie cierpienia, człowiek kreśli sam na charakterze, gdzie retusz staje się w końcu niemożliwy, kształt swoich przywar i granice swojej cnoty.

Jeżeli, mimo tylu związków między pisarzem a człowiekiem, jakie spostrzegłem później, nie uwierzyłem w pierwszej chwili u pani Swann, że to jest Bergotte, że to autor tylu boskich książek stoi przede mną, nie byłem może całkiem w błędzie, bo on sam (w ścisłym znaczeniu słowa) nie „wierzył” w to również. Nie wierzył w to, skoro rozwijał ogromną zabiegliwość w stosunku do światowców (nie będąc zresztą snobem), do literatów, dziennikarzy, ludzi o wiele niższych od siebie. Z pewnością, dowiedział się teraz z głosu publiczności, że jest genialny, wobec czego sytuacja światowa i oficjalne stanowiska są niczym. Dowiedział się, że jest genialny, ale nie wierzył w to, skoro nadal udawał szacunek dla miernot, aby zostać niebawem akademikiem, mimo iż Akademia lub Faubourg Saint-Germain nie więcej mają wspólnego z cząstką wiekuistego Ducha, będącą autorem książek Bergotte’a, co z zasadą przyczynowości lub ideą Boga. Bergotte wiedział o tym, ale tak, jak kleptomani daremnie wie, że źle jest kraść. I człowiek z bródką i ze ślimakowatym nosem rozwijał chytrych gentlemana kradnącego srebrne łyżki, aby się zbliżyć do spodziewanego fotela, do jakiejś księżnej rozporządzającej pewną ilością głosów, ale zbliżyć się tak, aby nikt z osób zdolnych mu brać za złe takie zabiegi nie zauważył jego dyplomacji. Udawało mu się to tylko w pewnym stopniu; słowa prawdziwego Bergotte’a błąkały się między słowami Bergotte’a ambitnego, egoisty, który, aby sobie przydać wartości, rad mówił tylko o jakichś ludziach potężnych, dostojnych lub bogatych — on, który w swoich książkach, kiedy był naprawdę sobą, tak pięknie pokazał czysty jak źródło czar ubogich.

Co do owych innych wad, do których robił aluzję pan de Norpois, co do owej w pół kazirodczej miłości, którą pomawiano nawet o pieniężną interesowność, wady te kłóciły się rażąco z tendencją jego ostatnich powieści. Te były pełne tak skrupulatnej i bolesnej troski o poziom moralny, że najdrobniejsze radości bohatera były nią zatrute; czytelnik wynosił z tych książek wręcz uczucie lęku, stawiającego najspokojniejszą egzystencję pod znakiem zapytania. Wady te — o ile je słusznie przypisywano Bergotte’owi — nie dowodziły jednak, aby jego literatura była kłamstwem, a ta nadmierna wrażliwość komedią. Jak w patologii pewne stany, na pozór jednakie, rodzą się jedne z nadmiaru, drugie z niedoboru ciśnienia, wydzielania etc., tak samo może istnieć jakaś przywara z przewrażliwienia lub inna z braku wrażliwości. Może jedynie egzystencjom istotnie skażonym problem moralny może się narzucać z całą siłą obsesji. I temu problemowi artysta daje rozwiązanie nie na płaszczyźnie swego osobistego życia, ale na płaszczyźnie tego, co dlań jest jego życiem istotnym — rozwiązanie powszechne, artystyczne. Jak wielcy doktorzy Kościoła, ludzie dobrzy, zaczęli często od poznania grzechów wszystkich ludzi i zaczerpnęli stąd swoją własną świętość, tak znów często wielcy artyści, będąc źli, korzystają ze swoich występków, aby osiągnąć zrozumienie powszechnej reguły moralnej. Występki (lub bodaj tylko słabostki i śmieszności) środowiska, w jakim żyli, niebaczne słowa, płocze i gorszące życie ich córki, zdrady ich żony lub własne ich błędy, oto rzeczy, które pisa-



rze najczęściej piętnowali w swoich diatribach, nie zmieniając przez to trybu własnego małżeństwa lub złego tonu panującego w ich domu. Ale ten kontrast niegdyś uderzał mniej niż za czasu Bergotte'a, dlatego że, z jednej strony, w miarę jak społeczeństwo się psuje, poczucie moralne rafinuje się; z drugiej zaś strony, publiczność bardziej niż wprzód wnika w prywatne życie pisarzy; i nieraz pokazywano sobie w teatrze autora, tak podziwianego przeze mnie w Combray, w loży, której sam skład osób zdawał się dziwnie komicznym lub gorszącym komentarzem, bezwstydnym zaprzeczeniem tezy, jakiej Bergotte bronił w swym ostatnim dziele.

Ale to, co ludzie mogli mi powiedzieć, niewiele mnie pouczyło o dobrych lub złych cechach natury Bergotte'a. Ktoś z bliskich przytaczał dowody jego braku serca; ktoś inny, nieznajomy, cytował rys (wzruszający, bo wyraźnie przeznaczony na to, aby pozostał nieznanym) jego głębokiej dobroci. Postąpił okrutnie ze swoją żoną. Ale w gospodzie wiejskiej, dokąd zjechał przypadkiem, czuwał całą noc nad jakąś biedotą, która próbowała się utopić; i kiedy musiał odjechać, zostawił dużo pieniędzy oberżyscie, aby nie wypędzał nieszczęśliwej i aby miał dla niej względy. Być może, im bardziej wielki pisarz wyrastał w panu Bergotte kosztem jegomościa z bródką, tym bardziej własne indywidualne życie topiło się w nurcie wszystkich stwarzanych przez niego fikcyjnych istnień, zwalniając go niejako z obowiązków rzeczywistych, zastąpionych dlań obowiązkiem stwarzania owych innych istnień. Ale zarazem, ponieważ sobie wyobrażał uczucia drugich równie dobrze, co gdyby to były jego własne, kiedy okoliczności sprawiły, że się zetknął — przynajmniej w przelotny sposób — z jakimś nieszczęśliwym, starał się zająć punkt widzenia nie własny, ale tego, który cierpi; i z tego punktu przejmowałby go wstrętem język ludzi nadal myślących o swoich drobnych sprawach wobec cudzej niedoli. Tak iż budził dokoła siebie słuszne urazy i niezatarte wdzięczności.

Był to zwłaszcza człowiek, który w gruncie i naprawdę kochał jedynie pewne obrazy; lubił tworzyć je i malować słowami, niby miniaturę na dnie szkatułki. Za lada drobnostką, jaką mu ktoś przesłał, jeżeli ta drobnostka dała mu sposobność do splecenia kilku słów, okazywał się hojny w wyrazy wdzięczności, podczas gdy obojętnie przyjmował bogaty podarek. A gdyby się miał bronić przed trybunałem, mimo woli dobierałby słów nie wedle ich domniemanego działania na sędziów, ale pod kątem obrazów, jakich sędzia z pewnością by nie zauważył.

Owego pierwszego dnia, kiedy ujrzał Bergotte'a u państwa Swann, opowiedziałem mu, że widział świeżo Bermę w *Fedrze*; orzekł, iż w scenie, gdy artystka trwa z dłonią podniesioną do wysokości ramienia — była to właśnie jedna ze scen, tak oklaskiwanych — umiała z bardzo szlachetnym kunsztem ożywić arcydzieła, jakich może zresztą nigdy nie widziała; Hesperydę czyniącą ten gest na metopie w Olimpii, a także piękne dziewice dawnego Erechtejonu.

— To może jest intuicja, ale wyobrażam sobie, że ona wysiaduje w muzeach. To byłoby interesujące do ustalenia — („ustalić” było jednym z uprzywilejowanych wyrażen Bergotte'a, a wielu młodych ludzi, którzy go nigdy nie widzieli, przejęło ten zwrot, naśladowując Bergotte'a mocą pewnej sugestii na odległość).

— Myśli pan o Kariatydach? — spytał Swann.

— Nie, nie — rzekł Bergotte — poza sceną, gdy Fedra wyznaje swoją namiętność Enonie i gdy robi gest Hegeso ze steli Ceramiki, ona wskrzesza sztukę o wiele dawniejszą. Mówiłem o Korai dawnego Erechtejonu; przyznaję, że nie ma może nic równie odległego od sztuki Racine'a... ale jest już tyle rzeczy w *Fedrze*... zatem, jedna mniej, jedna więcej... Och! a potem, owszem, bardzo ładna jest ta mała Fedra z VI wieku, ten pion ramienia, pukiel włosów „robiący marmur”, owszem, tak, to jest bardzo tęgie wymyślić to wszystko. Jest w tym o wiele więcej antyku niż w wielu książkach, które w tym roku uchodzą za „antyczne”.

Ponieważ Bergotte zwrócił w jednej ze swoich książek słynną inwokację do owych starożytnych posągów, słowa jego w tej chwili były dla mnie bardzo jasne i dawały mi nową przyczynę interesowania się grą Bermę. Staralem się ją na nowo ujrzeć we wspomnieniu taką, jaką była w owej scenie, gdzie, pamiętałem, podniosła dłoń na wysokość ramienia. I powiadałem sobie: „Oto Hesperyda z Olimpii; oto siostra jednej z owych cudownych błagalnic Akropolu; oto, co się zowie szlachetna sztuka!”. Ale, aby te myśli mogły mi upiększyć gest Bermę, trzeba by je usłyszeć z ust Bergotte'a przed spektaklem. Wówczas,

gdy ów gest aktorki istniał rzeczywiście przede mną, w chwili gdy dziejąca się rzecz ma jeszcze pełnię realności, byłbym może próbował wydobyć z niej ideę starożytną rzeźby. Ale to, com zachował z Bermy w owej scenie, to było wspomnienie niedostępne już zmianie, wątle jak obraz bez owych głębokich pokładów teraźniejszości, w których się można ryc i z których można wydobyć naprawdę coś nowego; — obraz, któremu nie można narzucić wstecz interpretacji, jako niedostępnej już kontroli i sankcji rzeczowej.

Aby się wmieszać do rozmowy, pani Swann spytała mnie, czy Gilberta pamiętała mi dać to, co Bergotte napisał o Fedrze. „Mam córkę tak roztrzepaną”, dodała. Bergotte uśmiechnął się skromnie i tłumaczył się, że to jest drobiazg bez znaczenia. „Ale to takie urocze dziełko, ten mały *tract*” — rzekła pani Swann, aby się okazać dobrą panią domu, aby dowieść, że czytała broszurkę, a także dlatego, że lubiła nie tylko komplementować Bergotte’a, ale czynić wybór między rzeczami, które pisał, kierować nim. I w istocie natchnęła go, inaczej zresztą, niż sądziła. Ale ostatecznie, między elegancją salonu pani Swann a całą partią dzieła Bergotte’a istnieją takie związki, że w oczach dzisiejszych starców mogą one wzajem służyć sobie za komentarz.

Ośmieliłem się zwierzyć mu ze swoich wrażeń. Często nie wydały się Bergotte’owi trafnie, ale pozwalał mi mówić. Oświadczyłem, że mi się podobało zielone światło, użyte w chwili, gdy Fedra podnosi rękę. „A, zrobiłby pan niemałą przyjemność dekoratorowi, który jest wielkim artystą; opowiem mu to, bo i on jest bardzo dumny z tego światła. Ale ja muszę wyznać, że nie bardzo je lubię; to pławi wszystko w jakimś seledynowym sosie, Fedra robi się w tym wszystkim niby gałązka koralu w akwarium. Powie pan, że to wydobywa kosmiczną stronę dramatu. Tak, to prawda. Bądź co bądź, to by było właściwsze dla sztuki, która by się działa w królestwie Neptuna. Ja wiem, że tam jest mowa o zemście Neptuna. Mój Boże, ja nie żądam, aby wciąż myśleć tylko o Port-Royal, ale ostatecznie to, co Racine tam opowiada, to nie są amory jeźowców. Ale ostatecznie, tego mój przyjaciel chciał, i w rezultacie to jest bardzo tęgie i w gruncie dosyć ładne. Tak, panu się to podobało, pan to zrozumiał, prawda; w gruncie jesteśmy jednego zdania; to trochę niedorzeczne, co on zrobił, prawda, ale z tym wszystkim to bardzo inteligentne”.

I kiedy jego sąd był sprzeczny z moim, Bergotte nie doprowadzał mnie bynajmniej do milczenia, do niemożliwości jakiegokolwiek repliki, jakby to uczynił wyrok pana de Norpois. To nie dowodzi, aby zdanie Bergotte’a było mniej warte niż zdanie ambasadora, przeciwnie. Tęga myśl udziela oponentowi nieco swojej siły. Bogata w jakieś ogólne wartości ducha, wciska się ona, wszczepia się w umysł tego, z którym polemizuje, wraz z myślami ubocznymi, przy pomocy których ów, znajdując jakiś sukurs, uzupełnia ją, precyzuje; tak iż ostateczny sąd jest niejako wynikiem dyskusji dwóch osób. Ale na myśli niebędące ściśle biorąc myślami, na myśli, które, nie wiążąc się z niczym, nie znajdują żadnego punktu oparcia, żadnej bratniej gałązki w inteligencji przeciwnika, ów, zmagając się z czystą próżnią, nie znajduje odpowiedzi. Argumenty pana de Norpois (w zakresie sztuki) były bez repliki, bo były bez treści.

Wobec tego, iż Bergotte nie odrzącił moich wątpliwości, wyznałem mu, że pan de Norpois zlekceważył je. „Ależ to stary dzieciół — rzekł Bergotte — musiał pana poharatać swoim dziobem, bo zawsze mu się wydaje, że ma przed sobą kawał pnia”.

— Jak to! pan zna starego Norpois? — rzekł do mnie Swann.

— Och, nudny jest jak lukrecja — przerwała pani Swann, która miała wiele zaufania do sądu Bergotte’a, a bała się z pewnością, czy pan de Norpois nie powiedział u nas o niej czego złego. — Chciałam z nim rozmawiać kiedyś po obiedzie; nie wiem, czy to wiek, czy trawienie, ale wydał mi się kompletny ramol. Robi wrażenie, że trzeba by mu dopingiu.

— Tak, prawda — rzekł Bergotte — on musi dosyć często milczeć, aby nie wyczerpać przed końcem wieczoru zapasu głupstw, które krochmalą gors jego koszuli i podtrzymują białą kamizelkę.

— Uważam, że Bergotte i moja żona są bardzo surowi — rzekł Swann, który obejmował u siebie w domu „*emploi*” zdrowego rozsądku. — Uznaję, że Norpois nie może pana zbyt interesować, ale z innego punktu widzenia — (bo Swann lubił kolekcjonować piękności „życia”) — jest to figura dosyć ciekawa, dosyć ciekawa jako „amant”. Kiedy był sekretarzem w Rzymie — dodał Swann, upewniwszy się, że Gilberta nie może słyszeć — miał w Paryżu kochankę, za którą szalał; otóż znajdował sposób przyjeżdżania dwa razy na tydzień po to, aby ją widzieć dwie godziny. Była to zresztą kobieta bardzo inteligent-

na i czarująca w owym czasie; obecnie już matrona. I miał prócz tego wiele innych. Ja bym oszalał, gdyby kobieta, którą bym kochał, mieszkała w Paryżu, a ja w Rzymie. Ludzie nerwowi powinni by zawsze kochać, jak mówi lud, „poniżej siebie”, tak, aby kwestia materialna czyniła kochankę zależną od nich.

W tej chwili Swann spostrzegł, że ja mógłbym zastosować tę maksymę do niego i do Odety. A że nawet u ludzi wyższych, w chwili gdy zdają się wraz z nami szybować ponad życiem, miłość własna tkwi w małostkach, Swann uczuł w tej chwili wybitną niechęć do mnie. Ale to się objawiło jedynie niepokojem jego spojrzenia. Nie rzekł mi nic w tej chwili. Nie trzeba się temu zbyt dziwić. Kiedy Racine, wedle wersji zresztą zmyślonej, ale której treść powtarza się co dnia w życiu paryskim, zrobił aluzję do Scarrona wobec Ludwika XIV, najpotężniejszy król świata nie rzekł tego wieczora poecie nic. A następnego dnia poeta popadł w niełaskę.

Że jednak teoria pragnie być wyrażana całkowicie, po chwili irytacji, przetarłszy monokl, Swann uzupełnił swoją myśl słowami, które miały później przybrać w moim wspomnieniu wartość proroczego i daremnego zresztą ostrzeżenia. „Jednakże — rzekł — niebezpieczeństwo tego rodzaju miłości tkwi w tym, że zależność kobiety uspokaja na chwilę zazdrość mężczyzny, ale czyni ją też bardziej wymagającą. Dochodzi do tego, że trzyma kochankę, niby owych więźniów, których oświeśla się dniem i nocą, aby ich lepiej strzec. I kończy się to zazwyczaj dramatem”.

Wróciłem do pana de Norpois. „Niech mu pan nie ufa; o, to jest bardzo zły język” — rzekła pani Swann z akcentem, który zdawał się świadczyć, iż pan de Norpois musiał o niej źle mówić, zwłaszcza iż Swann popatrzył na żonę z wyrazem nagany, jakgdyby zabraniając jej brnąć dalej.

Tymczasem Gilberta, którą już dwa razy proszono, aby się poszła przygotować do wyjścia, przysłuchiwała się nam, między matką a ojcem, o którego ramię opierała się piśczętliwie. Na pierwszy rzut oka nie mogło być większego kontrastu z panią Swann, która była brunetką, niż ta dziewczynka o rudych włosach i złocistej cerze. Ale po chwili rozpoznawało się w Gilbertce wiele rysów — na przykład nos ścięty z nagłą i nieomylną decyzją przez niewidzialnego rzeźbiarza, który pracuje swoim dłutem dla całego szeregu generacji — wyraz, ruchy matki; aby zacerpnąć porównanie z innej sztuki, Gilberta wyglądała na niezbyt jeszcze podobny portret pani Swann, której malarz, przez kaprys kolorysty, kazałby pozować na wpół przebranej, wybierającej się na obiad „*tête coiffée*” jako wenecjanka. A że miała nie tylko perukę blond, ale wszelki atom śniadości wygnany był z jej cery, która, rozebrana ze swoich ciemnych zasłon, zdawała się bardziej naga, okryta jedynie promieniami wysyłanymi przez jakieś wewnętrzne słońce, charakteryzacja jej była nie tylko powierzchowna, ale głębsza; Gilberta robiła wrażenie, że przedstawia jakieś bajkowe zwierzę lub że włożyła jakiś mitologiczny kostium. Ta ruda cera pochodziła od jej ojca, jak gdyby natura, stwarzając Gilbertę, miała rozwiązać to zadanie, aby stopniowo odtworzyć panią Swann, mając jako materiał jedynie skórę pana Swann. I natura spożytkowała ją doskonale, jak snycerz, który stara się zostawić widoczne słoje i sęki. W twarzy Gilberty, w kąciku idealnie odtworzonego nosa Odety, skóra podnosiła się, aby oddać wiernie dwa pieprzyki Swanna. Była to niby nowo wyprodukowana odmiana pani Swann, oglądana obok niej, niby biały bez obok bzu lila.

Nie trzeba sobie zresztą wyobrażać ostrej linii granicznej między tymi dwoma podobieństwami. Chwilami, kiedy Gilberta się śmiała, widziało się owal policzków jej ojca w twarzy matki, jak gdyby je zestawiono razem dla sprawdzenia, co wyda taka kombinacja; ten owal precyzował się tak jak kształtuje się embriion, wydłużał się, wydymał i po chwili znikał. W oczach Gilberty było szczere i życzliwe spojrzenie jej ojca; to, które miała, wręczając mi agatową kulę i mówiąc: „Zachowaj ją na pamiątkę naszej przyjaźni”. Ale wystarczyło spytać Gilbertę o to, co robiła, natychmiast ujrzało się w tych samych oczach zakłopotanie, niepewność, udanie, smutek, jakie miała niegdyś Odeta, kiedy Swann pytał jej, gdzie była i kiedy mu odpowiadała jednym z owych kłamstw, które doprowadzały do rozpaczki kochanka, a które teraz nieciekawemu i dyskretnemu mężowi kazały nagle odmieniać rozmowę. Często na Polach Elizejskich odczuwałem niepokój, widząc u Gilberty to spojrzenie. Ale po największej części niesłusznie. Bo u niej, będąc czysto fizycznym dziedzictwem matki, spojrzenie to — przynajmniej to — nie odpowiadało już niczemu. Kiedy była na kursach, kiedy miała wrócić na lekcję, żrenice Gilberty wykonywały ten

ruch, który niegdyś w oczach Odety rodził się z obawy zdradzenia się, że w ciągu dnia przyjęła któregoś ze swoich kochanków lub że się spieszy na schadzkę. I tak widziało się te dwie natury dwojga Swannów, mieniające się, spływające, wypierające się wzajem, w ciele tej Meluzyny.

Wiadomo jest, oczywiście, że dziecko ma coś z ojca i z matki. Ale rozdział tych odziedziczonych przymiotów i wad odbywa się tak szczególnie, że z dwóch przymiotów, które zdawały się nierozdzielne u jednego z rodziców, odnajduje się u dziecka tylko jeden, skojarzony z jakąś wadą drugiego z rodziców, wadą, zdawałoby się, nie do pogodzenia z ową zaletą. A nawet wcielenie duchowego przymiotu w wadę fizyczną wręcz sprzeczną, jest często jednym z prawideł podobieństwa dziecka. Z dwóch siostr jedna będzie miała, przy świetnej postawie ojca, małostkowy charakter matki; druga, naładowana inteligencją ojca, ukaże ją światu pod postacią swojej matki; matczyny gruby nos, sękaty brzuch, nawet głos, stały się odzieżą przymiotów, które znało się pod wspaniałą postacią. Tak iż o każdej z dwóch siostr można powiedzieć z jednaką słuszością, że to ona więcej ma z ojca lub z matki.

Prawda, że Gilberta była jedynaczką, ale były co najmniej dwie Gilberty. Dwie natury — ojca i matki — nie tylko się w niej mieszały; one kłóciły się o nią, a jeszcze to określenie byłoby nieściśle i pozwalałoby przypuszczać, że trzecia Gilberta była kolejno jedną a potem drugą, i w każdej chwili wyłącznie jedną. Kiedy była ową gorszą, niezdolna była cierpieć nad tym, bo lepsza Gilberta nie mogła wówczas, jako chwilowo nieobecna, stwierdzić tego upadku. Toteż gorsza z dwóch Gilbert mogła swobodnie sycić się mniej szlachetnymi przyjemnościami. Kiedy druga Gilberta mówiła sercem swego ojca, miała szerokie horyzonty, człowiek byłby chciał podjąć z nią piękne i dobroczynne dzieło, mówił jej to; ale w chwili, gdyście mieli dojść do porozumienia, serce matki już odzyskało swoją kolej i ono ci odpowiadało; i czuleś się nagle zawiedziony i podrażniony — prawie zaintrygowany, jakby wobec podstawienia innej osoby — małostkową uwagą, fałszywym śmiechem, sprawiającymi Gilbertcie przyjemność, bo wychodziły z istoty, jaką była w tej chwili. Przepaść między dwiema Gilbertami była czasem tak wielka, że człowiek pytał się — daremnie zresztą — co jej mógł zrobić takiego, aby ją zastać tak odmienioną. Na spotkanie, które ci sama zaproponowała, nie tylko nie przyszła i nie wytłumaczyła się, ale — jaki bądź mógł być wpływ, który jej kazał zmienić postanowienie — okazywała się potem tak inna, że mógłbyś mniemać, iż, padając ofiarą podobieństwa w rodzaju *Menechmów*, znajdujesz się nie wobec osoby, która tak mile pragnęła cię widzieć — gdyby nie widoczny zły humor Gilberty, świadczący, że czuje się winna i że chce uniknąć wyjaśnień.

— No, no, idź, bo będziemy musieli czekać na ciebie — rzekła matka.

— Jest mi tak dobrze przy moim papusku, zostanę jeszcze chwilę — odparła Gilberta, kryjąc głowę pod ramieniem ojca, który gładził czule jej jasne włosy.

Swann był jednym z tych ludzi, którzy długo żyjąc złudzeniami miłości, widzieli, iż dobrobyt, jaki dali pewnej ilości kobiet, przyczynił się do ich szczęścia, nie rodząc w nich żadnej wdzięczności ani czułości; ale w dziecku swoim wierzą w przywiązanie, które, wcielone w ich nazwisko, pozwoli im trwać po zgonie. Kiedy nie będzie już Karola Swanna, będzie jeszcze panna Swann albo pani X z domu Swann i nadal będzie kochała zmarłego ojca. Będzie go może nawet kochała zanadto, myślał z pewnością Swann, bo odpowiedział Gilbertcie: „Jesteś dobre dziecko”, z owym rozczulonym niepokojem, jaki w nas rodzi zbyt namiętna tkliwość istoty przeznaczonej na to, aby nas przeżyła. Aby ukryć wzruszenie, wmieszał się w naszą rozmowę o Bermie. Zwrócił mi uwagę — ale tonem obojętnym i znudzonym, jak gdyby chciał zostać poniekąd na zewnątrz tego, co mówił — z jaką inteligencją, z jaką nieoczekiwaną celnością aktorka rzekła do Enony: „Wiedziałaś!”. Swann miał słuszość: ten bodaj akcent miał wartość naprawdę zrozumiałą i byłby mógł tym samym uczynić zadość memu pragnieniu nieodpartych racji dla podziwiania Bermy. Ale właśnie dla swojej jasności nie zadowalał tego pragnienia. Akcent był tak trafny, o tak jasnym sensie i intencji, że zdawał się istnieć sam w sobie, tak, iż każda inteligentna artystka mogłaby się na to zdobyć. To była piękna idea, ale kto bądź by na nią wpadł, posiadłby ją równie łatwo. Wartością Bermy pozostawało to, że ją znalazła, ale czy można użyć słowa „znaleźć”, gdy chodzi o znalezienie czegoś, co by nie było inne, gdyby się to otrzymało, czegoś, co nie jest związane zasadniczo z naszą istotą, skoro ktoś inny może to później odtworzyć?

— Mój Boże, jak pańska obecność podnosi *poziom rozmowy!* — rzekł do mnie Swann, jakby dla usprawiedliwienia się w oczach Bergotte'a. Swann nabrał w środowisku Guermantów zwyczaju przyjmowania wielkich artystów jak dobrych przyjaciół, których pragnie się jedynie uczęstować potrawami, jakie lubią, posadzić ich do gry lub też na wsi oddawać się sportom, jakie ich bawią. — Zdaje mi się, że my mówimy o *sztuce* — dodał.

— To bardzo dobrze, ja bardzo to lubię — rzekła pani Swann, rzucając mi spojrzenie pełne wdzięczności, przez dobroć, a także dlatego, że zachowała swoje dawne aspiracje do konwersacji intelektualnych.

Potem Bergotte zaczął mówić do innych osób, zwłaszcza do Gilberty. Powiedziałem mu wszystko, com odczuwał, ze swobodą, która mnie zdziwiła. Przywykwszy z nim od wielu lat (w ciągu tylu godzin samotności i lektury, w których był dla mnie jedynie lepszą częstką mnie samego) do szczerości, prostoty, ufności, czułem się z Bergotte'em mniej onieśmielony niż z osobą, z którą rozmawiałbym po raz pierwszy. Jednakże dla tej samej przyczyny byłem bardzo niespokojny o wrażenie, jakie mogłem zrobić na wielkim pisarzu, bo podejrzenie moje, że on byłby wzgardził moimi myślami, datowało nie od dziś, ale od dawnych już czasów, gdy zacząłem czytać jego książki, w ogrodzie w Combray. Byłbym sobie co prawda mógł powiedzieć, że skoro szczerze, idąc za swoim instynktem, z jednej strony tak bardzo sympatyzowałem z książkami Bergotte'a, z drugiej zaś doznałem w teatrze niezrozumiałego rozczarowania, te dwa odruchy nie muszą być tak różne od siebie, ale muszą podlegać tym samym prawom; i że ten duch Bergotte'a, który ukochałem w jego książkach, nie musi być czymś całkowicie obcym i wrogim memu rozczarowaniu i mojej niezdolności wyrażenia go. Bo moja inteligencja była przecież jedna, a może w ogóle istnieje tylko jedna, której wszyscy są współlokatorami; inteligencja, na którą każdy z głębi swego osobistego ciała kieruje spojrzenie, jak w teatrze, gdzie, o ile każdy ma własne miejsce, w zamian za to jest tylko jedna scena. Bez wątpienia, idee, w jakich rozplątywaniu sobie podobałem, to nie były te, które najczęściej zgłębiał Bergotte w swoich książkach. Ale jeżeli obaj mieliśmy do rozporządzenia jedną i tę samą inteligencję, Bergotte musiał, słysząc, jak wyrażam te myśli, przypominać je sobie, lubić je, uśmiechać się do nich, zachowawszy prawdopodobnie, mimo wszystko, com przypuszczał, przed swoim wewnętrznym okiem całkiem inną częstkę inteligencji, niż tę, której wycinek wszedł w jego książki i wedle której wyobraziłem sobie cały jego wszechświat duchowy. Tak samo jak księża, posiadając największe doświadczenie serca, mogą najlepiej przebaczyć grzechy, jakich nie popełniają, tak samo geniusz, mając największe doświadczenie inteligencji, może najlepiej zrozumieć myśli choćby najsprzeczniejsze z tymi, które tworzą treść jego własnych dzieł. Powinienem był sobie powiedzieć to wszystko (w czym zresztą nie ma nic przyjemnego, gdyż przychyłność wysokich duchów równoważy się niezrozumieniem i wrogością miernych; otóż czujemy się o wiele mniej szczęśliwi z sympatii wielkiego pisarza, którego ostatecznie możemy znaleźć w jego książkach, niż cierpimy od niesympatii kobiety, którą wybraliśmy nie dla jej inteligencji, a której mimo to nie możemy przestać kochać); powinienem był sobie powiedzieć to wszystko, ale nie mówiłem; byłem przekonany, że się wydał Bergotte'owi idiotą. Naraz Gilberta szepnęła mi do ucha:

— Pławię się w radości, boś podbił serce mojego wielkiego przyjaciela. Bergotte powiedział mamie, że mu się wydajesz nadzwyczaj inteligentny.

— Dokąd idziemy? — spytałem Gilberty.

— Och, wszystko jedno: ty wiesz, dla mnie tu czy tam...

Ale od wydarzenia, jakie zaszło w rocznicę śmierci jej dziadka, pytałem sam siebie, czy charakter Gilberty nie jest inny, niż przypuszczałem, czy ta obojętność na ewentualne decyzje, ten rozsądek, ton, spokój, ta słodka uległość, nie kryją przeciwieństwo bardzo żywych pragnień, których ona przez ambicję nie chce pokazać i które zdradza jedynie nagłym oporem, kiedy przypadkowo ktoś je pokrzykuje.

Ponieważ Bergotte mieszkał w tej samej dzielnicy co my, wyszliśmy razem; w powozie mówił mi o moim zdrowiu:

— Państwo Swann wspomnieli mi, że pan jest cierpiący. Żal mi pana bardzo. Ale mimo to, nie żałuję pana zbyt, bo widzę, że pan musi mieć rozkosze inteligencji i że prawdopodobnie są one dla pana najważniejsze, jak dla wszystkich, co je poznali.

Niestety! Czulem, iż to, co Bergotte mówi, jakże mało odpowiada prawdzie dla mnie, którego wszelkie rozumowanie, choćby najpodniosłejsze, zostawiało zimnym, który byłem szczęśliwy jedynie w chwilach prostego *far niente*, przy dobrym samopoczuciu; czulem, do jakiego stopnia to, czegom pragnął w życiu, jest czysto materialne, i jak łatwo obszedłbym się bez inteligencji. Ponieważ w zakresie przyjemności nie rozróżniałem rozmaitych ich źródeł, mniej czy więcej głębokich lub trwałych, pomyślałem, w chwili gdy miał odpowiedzieć panu Bergotte, że lubiłbym egzystencję, w której żyłbym w pobliżu księżnej de Guermantes i w której bym często czuł, jak w dawnej budce akcyzy na Polach Elizejskich, chłód przypominający mi Combray. Otóż w tym ideale życia, jakiego nie śmiałem zwierzyć panu Bergotte, rozkosze inteligencji nie zajmowały żadnego miejsca.

— Nie, proszę pana, rozkosze inteligencji znaczą dla mnie bardzo mało, nie szukam ich, nie wiem nawet, czym ich kiedy kosztował.

— Sądzi pan, doprawdy? — odpowiedział. — Otóż, niech mi pan wierzy, że tak, że mimo wszystko to musi być to, co pan najbardziej lubi; ja tak to sobie wyobrażam, tak sądzę.

Nie przekonał mnie, to pewna; mimo to czulem się szczęśliwszy, swobodniejszy. Pod wpływem rozmowy z panem de Norpois, uważałem swoje zadumy, entuzjazmy, wiarę w siebie za rzeczy czysto subiektywne, bezprzedmiotowe. Otóż, wedle Bergotte'a, sprawiącego wrażenie, iż zna ten stan duszy, zdawało się, że symptomem godnym lekceważenia były, przeciwnie, moje wątpliwości, mój wstręt do samego siebie. Zwłaszcza to, co mówił o panu de Norpois, odejmowało wiele siły wyrokowi, który wprzód uważałem za bezapelacyjny.

— Czy pana dobrze leczą? — spytał Bergotte. — Kto się opiekuje pańskim zdrowiem? Odpowiedziałem, że doktor Cottard.

— Ależ panu trzeba całkiem czego innego! — odparł. — Nie znam go jako lekarza. Ale widziałem go u pani Swann. To głupiec. Przypuściwszy nawet, że mu to nie przeszkadza być dobrym lekarzem, w co trudno mi uwierzyć, przeszkadza mu to być dobrym lekarzem dla artystów, dla ludzi inteligentnych. Ludzie tacy jak pan potrzebują lekarzy specjalnych, powiedziałbym prawie specjalnych diet, lekarstw. Cottard pana znudzi i sama nuda nie pozwoli, aby jego leczenie było skuteczne. A przy tym leczenie nie może być takie samo dla pana, co dla pierwszego z brzegu. Trzy czwarte chorób ludzi inteligentnych płynie z ich inteligencji. Trzebaż im bodaj lekarza znającego tę chorobę. Jak pan chce, aby Cottard mógł pana leczyć; on przewidział ciężkostrawność sosów, przypadłości gastryczne, ale nie przewidział lektury Szekspira... Toteż rachuby jego dla pana nie mogą się zgadzać, równowaga jest zmałowana, wciąż „diabełek Kartezjusza” idzie w górę. Cottard znajdzie u pana rozstrzeń żołądka, nie potrzebuje pana badać, bo ją ma z góry w swoim oku. Może ją pan zobaczyć, odbija się w jego binoklach.

Ten sposób mówienia męczył mnie bardzo; powiadałem sobie z całą tępotą zdrowego rozsądku: „Tak samo nie ma rozstrzeni żołądka odbijającej się w binoklach profesora Cottard, jak nie ma głupoty w białej kamizelce pana de Norpois...”.

— Radziłbym panu raczej — ciągnął Bergotte — doktora du Boulbon, który jest zupełnie inteligentny.

— To wielki wielbiciel pana dzieł — odparłem. Spostrzegłem, że Bergotte wie o tym i wywnioskowałem stąd, że bratnie dusze spotykają się szybko i że nie ma się wielu prawdziwych „nieznanych przyjaciół”. To, co mi Bergotte mówił o Cottardzie, uderzyło mnie, mimo iż było sprzeczne ze wszystkimi moimi pojęciami. Nie troszczyłem się wcale o to, czy lekarz wyda mi się nudny; oczekiwałem od niego, aby dzięki sztuce, której prawidła były mi nieznane, zbadawszy mnie, wydał o moim zdrowiu bezapelacyjny wyrok. I nie zależało mi na tym, aby przy pomocy inteligencji — w czym mógłbym go zastąpić — postarał się zrozumieć mój intelekt, w którym widziałem jedynie środek — sam w sobie obojętny — za pomocą którego człowiek stara się osiągnąć zewnętrzne prawdy. Mocno wątpiłem, aby ludzie inteligentni potrzebowali innej higieny niż głupcy, i byłem zupełnie gotów poddać się higienie głupców.

— Kto by potrzebował dobrego lekarza, to nasz przyjaciel Swann — rzekł Bergotte. Spytałem, czy jest chory.

— Ba, jak człowiek, który ożenił się z dziwką, i teraz łyka dziennie pięćdziesiąt awanii ze strony kobiet, które nie chcą przyjmować jego żony, lub mężczyzn, którzy z nią spali.

Widzi się to, twarz mu się skręca od tego. Niech pan spojrzy którego dnia na jego brwi, kiedy wraca do domu, a pozna pan, kto jest u niego.

Nieżyczliwość, z jaką Bergotte mówił w ten sposób do obcego człowieka o ludziach, z którymi łączyła go dawna zażyłość, była dla mnie czymś równie nowym jak czuły niemal ton, jaki, będąc u Swannów, przybierał z nimi co chwila. To pewna, że osoba taka jak na przykład moja cioteczna babka byłaby niezdolna wobec kogokolwiek z nas do tych czułości, jakimi przy mnie Bergotte obsypywał Swanna. Nawet tym, których kochała, lubiła mówić rzeczy nieprzyjemne. Ale w ich nieobecności nie byłaby powiedziała ani słowa, którego by nie mogli słyszeć. Nic nie było mniej podobne do „świata” niż nasze życie w Combray. Towarzystwo Swannów było już drogą ku „światu”, ku jego zmiennym fluktom. To nie było jeszcze pełne morze, ale to była już laguna.

— Wszystko to zostanie między nami — rzekł Bergotte, żegnając mnie pod domem. W kilka lat potem, byłbym mu odpowiedział: „Nigdy nic nie powtarzam”. Dzięki temu uświęconemu frazesowi światowców, obmawiający zyskuje za każdym razem złudne bezpieczeństwo. Byłbym to już owego dnia powiedział panu Bergotte, bo człowiek nie wymyśla sam wszystkiego, co mówi, zwłaszcza w momentach towarzyskości. Ale nie znałem jeszcze tego frazesu. Ciotka znowuż byłaby powiedziała w podobnej okoliczności: „Skoro pan nie chce, aby to powtarzać, czemu pan to mówi?”. To jest odpowiedź ludzi nietowarzyskich, weredyków. Nie należałem do takich; skłoniłem się w milczeniu.

Literaci, będący w porównaniu ze mną nie lada figurami, zabiegali lata całe, nim zdołali zawiązać z Bergottem stosunki czysto zawodowe i niewychodzące poza jego gabinet, gdy ja znalazłem się już na liście przyjaciół wielkiego pisarza, po prostu i spokojnie, jak ktoś, kto zamiast stać w ogonku ze wszystkimi, aby dostać złe miejsce, uzyskuje najlepsze, przeszedłszy korytarzem zamkniętym dla innych. Jeżeli Swann mi go otworzył w ten sposób, to z pewnością dlatego, że jak król uważa za naturalne zapraszać przyjaciół swoich dzieci do łoża królewskiej, na jacht królewski, tak samo rodzice Gilberty przyjmowali przyjaciół córki pośród cennych rzeczy, jakie posiadali i jeszcze cenniejszych przyjaźni, które były w nie oprawne. Ale w owej epoce myślałem, może nie bez racji, że ta uprzejmość Swanna kieruje się pośrednio do moich rodziców. Zdaje mi się, że słyszałem niegdyś w Combray, jak ofiarował się im, widząc mój podziw dla Bergotte’a, że mnie weźmie do niego na obiad; rodzice odmówili, utrzymując, że jestem za młody i za nerwowy na to, aby „bywać”. Bez wątpienia, rodzice moi przedstawiali dla niektórych osób, właśnie dla tych, które mi się wydawały najcudowniejsze, coś zupełnie innego niż dla mnie. I jak w epoce, gdy różowa dama wygłosiła na cześć ojca pochwały, których okazał się tak mało godny, tak i teraz byłbym pragnął, aby rodzice zrozumieli, jaki nieoszacowany dar otrzymałem, i aby okazali wdzięczność szlachetnemu i uprzejmemu Swannowi, który ofiarował go mnie czy im — równie zdając się nie rozumieć jego wartości, jak na fresku Luiniego ów uroczy król-mag z orlim nosem, z włosami blond, tak podobny niegdyś, jak twierdzono, do Swanna.

Na nieszczęście łaska, którą mi Swann wyświadczył i którą za powrotem, nie zdjąwszy jeszcze palta, oznajmiłem rodzicom w nadziei, że obudzi w ich sercu uczucie równie tkliwe jak we mnie i skłoni ich w stosunku do Swannów do jakiejś olbrzymiej i rozstrzygającej uprzejmości — łaska ta nie spotkała się z życzliwą oceną.

— Swann przedstawił cię panu Bergotte! Wyborna znajomość, czarujące stosunki! — wykrzyknął ironicznie ojciec. — Brakowało tylko tego!

Niestety, kiedy dodał, że Bergotte nie wielbi bynajmniej pana de Norpois, ojciec rzekł:

— Naturalnie! Jeszcze jeden dowód, że to jest umysł opaczny i złośliwy. Moje biedne dziecko, już i tak nie miałeś zbyt dobrze w głowie, boleję nad tym, żeś się dostał w towarzystwo, które ci w niej do reszty przewróci.

Już moje zwykłe bywanie u Swannów bynajmniej nie zachwycało rodziców. Znajomość z Bergotte’em wydała się im oplakany, ale naturalnym następstwem pierwszego błędu, słabości ich, którą dziadek byłby nazwał „niedostatkiem przezorności”. Czulem, że dla dopełnienia złego humoru rodziców wystarczy mi powiedzieć, że ten przewrotny człowiek, który lekceważy pana de Norpois, uznał mnie nadzwyczaj inteligentnym. W istocie, kiedy ojciec znajdował, iż ktoś (któryś z moich kolegów na przykład) jest na złej drodze — jak ja w tej chwili — to jeżeli ów ktoś zyskał wówczas uznanie osoby

niecieszącej się szacunkiem ojca, opinia ta stawała się potwierdzeniem ujemnej diagnozy. Zło wydawało mu się tym większe. Słyszałem już jak ojciec wykrzykuje: „Oczywiście, to już jest szczyt!” — wyrażenie przerażające mnie przez swoją nieokreśloność i przez ogrom reform, których bezpośrednim wtargnięciem w moje tak słodkie życie zdawało się grozić. Że jednak, choćbym nie powtórzył, co Bergotte powiedział o mnie, nic już nie mogło zatrzeć wrażenia rodziców, pogorszyć go jeszcze trochę nie będzie już miało wielkiego znaczenia. Zresztą wydawali mi się tak niesprawiedliwi, tak stronniczy w swoim sądzie, że nie miałem nie tylko nadziei, ale nawet ochoty skorygowania ich poglądów. Mimo to, czując, w chwili gdy słowa wychodziły z moich ust, jak oni będą przerażeni myślą, iż zyskałem uznanie człowieka, który uważa inteligentnych ludzi za głupców, który sam jest przedmiotem wzgardy przyzwoitych ludzi i którego pochwała, przez to, że wydaje mi się pochlebna, zachęca mnie do złego, cichym głosem i z nieco zawstydzoną miną, kończąc opowiadanie, rzuciłem: „Powiedział Swannom, że mu się wydał nadzwyczaj inteligentny”. Niby otruty pies, który rzuca się bezwiednie na ziele będące właśnie odtrutką na spożytą truciznę, powiedziałem, nie wadząc o tym, jedyne słowo zdolne pokonać uprzedzenie rodziców do Bergotte’a; uprzedzenie, wobec którego najpiękniejsze moje argumenty, najgorętsze zachwyty pozostałyby daremne. W jednej chwili sytuacja się zmieniła.

— A! powiedział, że jesteś inteligentny — rzekła matka. — To mnie cieszy, bo to jest przecie człowiek utalentowany.

— Jak to? Tak powiedział? — dodał ojciec... — Ja nie zaprzeczam jego wartości literackiej, przed którą wszyscy chylą czoło; ale to jest przykre, że on prowadzi ową niezbyt zaszczytną egzystencję, o której wspominał dyskretnie stary Norpois — dodał ojciec, nie spostrzegając, że wobec potęgi magicznych słów, jakie wyrzekłem, zepsucie Bergotte’a nie dłużej zdoła się ostać niż opaczność jego sądów.

— Och, mój drogi — przerwała mama — nic nie dowodzi, aby to była prawda. Mówią tyle rzeczy. Zresztą Norpois to człowiek niezmiernie miły, ale on nie zawsze jest życzliwy, zwłaszcza dla ludzi, którzy nie są z jego koterii.

— To prawda, ja też to zauważyłem — odparł ojciec.

— A wreszcie, wiele będzie przebaczone panu Bergotte za to, że mu się spodobał mój chłopiec — dodała mama, gładząc mnie po włosach i obejmując mnie długim, marzącym spojrzeniem.

Matka zresztą nie czekała tego werdyktu Bergotte’a, aby mi powiedzieć, że mogę zaprosić Gilbertę na podwieczorek, kiedy będę miał u siebie przyjaciół. Ale nie śmiałem tego zrobić z dwóch przyczyn. Pierwszą było to, że u Gilberty podawano zawsze tylko herbatę. W domu, przeciwnie, mama przestrzegła, aby obok herbaty była i czekolada. Bałem się, aby się to Gilbertcie nie wydało pospolite i aby nie powzięła dla nas wzgardy. Inną przyczyną była trudność etykiety, której nigdy nie zdołałem przełamać. Kiedyś się zjawił u pani Swann, pytała mnie: „Jak się miewa pańska matka?”. Zagadywałem kilka razy mamę, aby wy badać, czy robi to samo, kiedy przyjdzie Gilberta; punkt ten wydawał mi się ważniejszy niż „*Monseigneur*” na dworze Ludwika XIV. Ale mama nie chciała słyszeć o tym.

— Ależ nie, skoro ja nie znam pani Swann.

— Przecie ona ciebie też nie zna.

— Nie o to chodzi, ale nie jesteśmy zmuszeni robić we wszystkim tak samo. Ja mogę zrobić Gilbertcie inne uprzejmości, których pani Swann nie będzie miała dla ciebie.

Ale nie przekonało mnie to i wolałem nie zapraszać Gilberty.

Pożegnawszy rodziców, poszedłem się przebrać. Wypróżniając kieszenie, znalazłem nagle kopertę, którą wręczył mi kamerdyner Swannów, wprowadzając mnie do salonu. Byłem teraz sam. Otwarłem, wewnątrz była karta, wskazująca mi damę, której miałem podać ramię, aby ją poprowadzić do stołu.

W owej epoce Bloch przewrócił moje pojęcia o świecie, otworzył dla mnie nowe możliwości szczęścia (które miały zresztą zmienić się później w możliwości cierpienia), upewniając, że wbrew temu, w com wierzył w czasach swoich spacerów w stronę Méséglise, kobiety są niezmiernie skłonne do aktów miłosnych. Uzpełnił tę przysługę, oddając mi drugą, którą miałem ocenić aż znacznie później: zaprowadził mnie pierwszy raz do domu schadzek. Mówił mi wprawdzie dawniej, że jest dużo ładnych kobiet, które można



posiadać. Ale dawałem im jedynie mglistą fizjonomię, którą domy schadzek pozwoliły mi później zastąpić określonymi twarzami. Uświadomił mi, że szczęście, że posiadanie piękna, nie są rzeczą niedostępną i że postępowaliśmy niemądrze, wyrzekając się ich na zawsze. Czulem dla Blocha za jego „dobrą nowinę” wdzięczność tego samego rodzaju, co dla jakiegoś lekarza lub filozofa-optimisty za widoki długiego życia na tym świecie lub nadzieję kontynuowania go na tamtym. Ale domy schadzek, w których zacząłem bywać w kilka lat później, dostarczając mi próbek szczęścia, pozwalając do piękności kobiet dodać czynnik, jakiego nie możemy wymyślić, niebędący tylko streszczeniem dawnych piękności, dar zaiste boski, jedyny, którego nie możemy otrzymać od samych siebie, wobec którego gasną wszystkie logiczne twory naszej inteligencji i którego możemy żądać jedynie od rzeczywistości: czar indywidualny — zasłużyły na to, abym je pomieścił obok owych innych dobroczyńców świeższego pochodzenia, ale analogicznej użyteczności (przed którymi wyobrażaliśmy sobie bez zapału urok Mantegny, Wagnera, Sienny, na podobieństwo innych malarzy, innych muzyków, innych miast): obok ilustrowanych wydań historii malarstwa, koncertów symfonicznych i studiów o stolicach sztuki.

Ale zakład, do którego Bloch mnie zaprowadził i dokąd zresztą sam nie chodził już od dawna, był kategorii zbyt niskiej, personel był w nim zbyt mierny i zbyt rzadko odnawiany, abym mógł tam zadowolić dawne ciekawości lub rozbudzić w sobie nowe. Właścicielka zakładu nie знаła żadnej z kobiet, których się żądało, a zawsze proponowała te, których się nie chciało. Zachwalała mi zwłaszcza jedną, o której z uśmiechem pełnym obietnic (jak gdyby to była rzadkość i przysmak) mówiła: „Żydówka! No? Co pan na to?”. (Z pewnością dlatego nazywała ją Rachelą). I z głupią i sztuczną egzaltacją, mającą się w jej mniemaniu udzielić, a kończącą się lubieżnym charkotem, mówiła: „Pomyśl, chłopczyku, Żydówka, temperamencik! Rrrrhha!”.

Owa Rachelą, którą mi pokazano tak, że ona mnie nie widziała, była brunetka, nieładna, ale z wyrazem inteligentnym; wilżąc końcem języka wargi, uśmiechała się wyzywająco do „gościa”, którego jej przedstawiono i który (słyszałem ich) nawiązywał z nią rozmowę. Jej szczupłą i wąską twarz okalały ciemne i kędzierzawe włosy, nieregularne, tak jakby je zaznaczono paroma kreskami w akwareli tuszem. Za każdym razem przyrzekałem gospodyni (proponowała mi Rachelę ze szczególnym naciskiem, zachwalając jej wysoką inteligencję i wykształcenie), że nie omieszkam pewnego dnia przyjść umyślnie, aby się zapoznać z Rachelą, którą przezwalałem „Rachelą, kiedy Pan”. Ale pierwszego wieczora usłyszałem, jak ta Rachelą, odchodząc, mówiła do gospodyni:

— Zatem wie pani: jutro jestem wolna; jeśli pani będzie miała kogo, niech pani nie zapomni po mnie posłać.

I te słowa nie pozwalały mi widzieć w niej osoby, bo natychmiast pomieściły ją dla mnie w ogólnej kategorii kobiet, których wspólnym zwyczajem było zachodzić tam wieczorem, aby się przekonać, czy nie było ludwika lub dwóch do zarobienia. Czasem odmieniała jedynie formę zdania, mówiąc: „Jeżeli pani będzie mnie potrzebowała” albo „Jeżeli pani będzie kogo potrzebowała”.

Gospodyni, która nie znała opery Halévy’ego, nie wiedziała, czemu przywykłem mówić „Rachelą, kiedy Pan”. Ale to, że się nie rozumie, nigdy nie przeszkadza bawić się jakimś żartem; toteż za każdym razem śmiała się z całego serca, mówiąc:

— No i co, więc jeszcze nie dziś wieczór ożenię pana z „Rachelą, kiedy Pan”? Jak pan to mówi: „Rachelą, kiedy Pan”? Ach, to wyborne. Zaręczę was. Zobacysz, chłopczyku, że nie pożałujesz.

Raz omal się nie zdecydowałem, ale Rachelą była „pod prasą”, drugim razem w dłoniach „fryzjera”, starego pana, który nie robił kobietom nic więcej prócz tego, że łał oliwę na ich rozpuszczone włosy i cesał je. I znudziłem się czekaniem, mimo że parę dziewcząt bardzo pokornych, rzekomo modystek, ale zawsze bez pracy, zaparzało mi kwiat pomarańczowy i prowadziło ze mną rozmowę, której, mimo powagi poruszanych przedmiotów, częściowa lub całkowita nagość moich partnerek dawała smakowitą prostotę. Przestałem zresztą chodzić do tego zakładu, bo pragnąc okazać swoją życzliwość osobie, która go prowadziła i która potrzebowała mebli, darowałem jej nieco mebli — między innymi wielką kanapę — odziedziczonych po cioci Leonii. Nie widywałem tych mebli nigdy, bo brak miejsca nie pozwolił rodzicom umieścić ich w domu; leżały stłoczone w jakiejś szopie. Ale z chwilą, gdy mi się ujrział w tym zakładzie i w użyciu u tych kobiet,

wszystkie cnoty, jakimi oddychało się w pokoju ciotki Leonii w Combray, objawiły mi się udręczone profanacją, na którą wydałem je bez obrony. Gdybym dał zgwałcić umarłą, nie cierpiałbym więcej. Nie wróciłem już do tej stręczycielki, bo zdawało mi się, że meble ciotki Leonii żyją i błagają mnie, niby w bajce perskiej owe na pozór martwe przedmioty, w których zamknięto dusze cierpiące męczeństwo i żebrzące wyzwolenia. Zresztą pamięć nie nastęrcza nam zazwyczaj wspomnień w porządku chronologicznym, ale jako odbłask, w którym układ poszczególnych części jest wywrócony; toteż dopiero znacznie później przypomniałem sobie, że na tej samej kanapie, wiele lat wprzód, poznałem pierwsze słodcze miłości z kuzyneczką, z którą nie wiedziałem, gdzie się poznać i która udzieliła mi dość niebezpiecznej rady, aby skorzystać z godziny, kiedy ciotka Leonia wstała.

Całą resztę mebli, a zwłaszcza wspaniałe stare srebra ciotki Leonii sprzedałem, mimo sprzeciwu rodziców, po to aby rozporządzać większą kwotą i móc posyłać więcej kwiatów pani Swann, która mówiła, otrzymując olbrzymie kosze storczyków: „Gdybym była pańskim ojcem, kazałabym pana wziąć pod kuratelę”. Jak mogłem przypuszczać, że kiedyś będę może szczególnie żałował owego srebra i że będę stawiał niektóre przyjemności wyżej niż tę (która miała się stać zupełnie żadną), aby świadczyć grzeczności rodzicom Gilberty!

Również przez wzgląd na Gilbertę i aby się z nią nie rozstawać, postanowiłem nie wstępować do dyplomacji. Rozstrzygające postanowienia robimy zawsze pod wpływem nastroju, któremu nie jest przeznaczone trwać. Zaledwie mogłem sobie wyobrazić, aby ta dziwna substancja, jaka mieszkała w Gilbertce i promieniowała w jej rodziców, w jej dom, czyniąc mnie obojętnym na wszystko inne — aby ta substancja mogła się wyzwolić, przenieść w inną istotę. Naprawdę ta sama substancja, a jednak mająca działać na mnie zupełnie inaczej. Bo ta sama choroba przeobraża się; i nie tak samo znosimy jakąś rozkoszną truciznę, kiedy z biegiem lat zmniejsza się odporność serca.

Rodzice pragnęli jednak, aby inteligencja, którą Bergotte we mnie uznał, objawiła się jakąś wybitną pracą. Póki nie znał Swannów, myślałem, że mi przeszkadza w pracy podniecenie, o jakie mnie przyprawia niemożność swobodnego widywania Gilberty. Ale odkąd ich dom był dla mnie otwarty, ledwie usiadł do biurka, zrywałem się i pędziłem do Swannów. A skoro ich opuścił i wróciłem do domu, odosobnienie moje było tylko pozorne, myśl nie mogła już wrócić pod prąd strumienia słów, któremu dałem się machinalnie nieść przez całe godziny. Zostawszy sam, dalej obmyślałem powiedzenia, które byłyby się mogły spodobać Swannom; aby zaś uczynić tę zabawę bardziej interesującą, zastępowałem nieobecnych partnerów, zadawałem sam sobie urojone pytania, wybrane tak, aby moje świetne aforyzmy służyły im jedynie za szczęśliwą odpowiedź. Ćwiczenie to, mimo iż milczące, było rozmową, a nie dumaniem; samotność moja była imaginacyjnym życiem salonu. Nie moja własna osoba, ale urojeni partnerzy kierowali moimi słowami. Zamiast myśli, które mi się zdawały prawdziwe, formułując te, które mi przychodziły bez trudu, bez sięgania w głąb, znajdowałem w tym ów rodzaj całkowicie biernej przyjemności, jaką znajduje w spokoju człowiek w momentach ciężkiego trawienia.

Gdybym był mniej zdecydowany wziąć się stanowczo do pracy, byłbym może zrobił wysiłek, aby zacząć zaraz. Ale postanowienie moje było tak stanowcze! Przed upływem doby, w pustych ramach jutrzejszego dnia — gdzie wszystko układało się tak pięknie, ponieważ nie było mnie tam jeszcze — moje dobre zamiary miały się ziścić; lepiej było tedy nie obierać na początek wieczoru, gdy byłem źle usposobiony. Niestety, następne dni nie miały się okazać pomyślniejsze. Ale ja byłem rozsądny. U kogoś, kto czekał całe lata, byłoby dzieciństwem nie móc jeszcze odczekać trzech dni. Pewien, że do pojutra napiszę kilka stron, nie mówiłem już ani słowa rodzicom o swoim postanowieniu; wolałem raczej być cierpliwy przez kilka godzin i przynieść babce — pocieszonej i przekonanej — rozpoczętą robotę. Na nieszczęście, jutro nie było owym nowym i rozległym dniem, jakiegom oczekiwał gorączkowo. Kiedy się skończyło, moje lenistwo i moja ciężka walka z wewnętrznymi przeszkodami trwały po prostu o dobę dłużej. I po upływie kilku dni, gdy plany moje nie ziściły się, nie miałem już tej samej nadziei, że ziszczą się bezpośrednio, tym samym nie miałem już tyleż energii, aby wszystko poddać tej realizacji; zaczynałem siadywać w nocy, ile że do wczesnego położenia się nie skłaniała mnie już niezawodna wizja pracy od jutrzejszego rana. Trzeba mi było, dla odzyskania zapału, paru

dni wytchnienia; toteż jednego razu, kiedy babka odważyła się z łagodnym zwątpieniem sformułować tę wymówkę: „No i cóż, ta robota, już się o niej nawet nie mówi?”, miałem do niej żal. Nie umiając dostrzec, że moje postanowienie było nieodwołalnie powzięte, babka — tak sądziłem — oddała oto jeszcze, i może na długo, jego realizację, podrażnieniem, w jakie wprawiała mnie jej rzekoma niesprawiedliwość. Nie chciałem w tym podrażnieniu zaczynać swego dzieła. Babka uczuła, że jej sceptycyzm zderzył się na ślepo z jakąś wolą. Wycofała się z tego i rzekła, ściskając mnie: „Przepraszam, nie powiem już nic”. I abym się nie zniechęcał, upewniła mnie, że kiedy będę zdrow, praca przyjdzie sama.

Zresztą (powiadałem sobie), przesiadując u Swannów, czyż nie czynię tego samego co Bergotte? Rodzicom zdawało się prawie, że tak leniuchując — ale w tym samym salonie co wielki pisarz — wiodę życie najkorzystniejsze dla rozwoju talentu. A jednak to, aby ktoś był zwolniony od wyrobienia tego talentu samemu, wewnątrz siebie, aby go otrzymał od kogoś drugiego, jest równie niemożliwe, co osiągnąć dobre zdrowie (mimo uchybień prawidłom higieny i mimo najgorszych ekscesów) jedynie przez częste obiady w towarzystwie lekarza. To złudzenie, któremu oddawaliśmy się i ja, i moi rodzice, podzielała zresztą w całej pełni pani Swann. Kiedym mówił, że nie mogę przyjść, bo muszę pracować, najwyraźniej uważała, że ja dziwaczę, że jest coś niedorzecznego i pretensjonalnego w tym, co mówię. Powiadała:

— Ależ Bergotte przychodzi! Czy pan uważa, że to, co on pisze, jest niedobre? To będzie nawet lepsze wkrótce — dodawała — bo on jest ostrzejszy, bardziej skondensowany w dzienniku niż w książce, gdzie często trochę rozgadnia. Uzyskałam to, że będzie odtąd pisywał *leader article* do „Figara”. To będzie zupełnie *the right man in the right place*.

I dodała:

— Niech pan przyjdzie, on panu lepiej niż ktokolwiek powie, co trzeba robić.

I kiedy pani Swann mnie upomniała, abym nie omieszkiał przyjść jutro na obiad, na którym miał być Bergotte, to było tak, jak się zaprasza jednorocznego ochotnika z jego pułkownikiem; to było w interesie mojej kariery, jak gdyby arcydzieła robiło się przez „stosunki”!

Tak więc ani ze strony Swannów, ani ze strony rodziców (to znaczy ze strony tych, którzy w różnych momentach powinni byli tworzyć przeszkody), nie spotykałem żadnej opozycji w tym słodkim życiu, w którym mogłem widywać Gilbertę, ile i jak chciałem, w upojeniu, jeżeli nie w spokoju ducha. Nie może być spokoju w miłości, gdyż to, cośmy uzyskali, jest zawsze tylko nowym punktem wyjścia dla większych pragnień. Dopóki nie mogłem być u Gilberty, wówczas, z oczami zwróconymi na to nieosiągalne szczęście, nie mogłem nawet sobie wyobrazić nowych wzruszeń, które mnie tam czekały. Skoro raz opór jej rodziców pękł i sprawa była wreszcie rozwiązana, problem ów zaczął się nastroczać na nowo za każdym razem w innym kształcie. W tym sensie można powiedzieć, że co dnia zaczynała się nowa przyjaźń. Co wieczór, wracając, zdawałem sobie sprawę, że miałem Gilbertę powiedzieć rzeczy arcyważne, od których zależała nasza przyjaźń, i rzeczy te nigdy nie były te same. Ale wreszcie byłem szczęśliwy i żadna groźba nie wznosiła się już przeciw memu szczęściu.

Miała, niestety, przyjść od strony, z której nigdy nie spostrzegłem żadnego niebezpieczeństwa; od strony Gilberty i mnie samego. A przecież powinno mnie było dręczyć to, co mnie, przeciwnie, uspokajało, com uważał za szczęście. Jest to w miłości stan nie-normalny, zdolny natychmiast dać najprostszemu w świecie i zawsze możebnemu przypadkowi wagę, jakiej przypadek ów sam przez się by nie miał. Co nas czyni szczęśliwymi, to obecność w sercu czegoś niestałego, co się staramy nieustannie utrzymać i czego nie spostrzegamy już prawie, o ile nie zmieni miejsca. W istocie, jest w miłości nieustanne cierpienie, które radość neutralizuje, robi czymś potencjalnym, oddala, ale które może w każdej chwili stać się tym, czym byłoby od dawna, gdyby się nie uzyskało celu swoich pragnień — czymś okropnym.

Wiele razy czułem, że Gilberta wolałaby oddalić moje wizyty. Prawda, iż kiedy za bardzo chciałem ją widzieć, potrzebowałem po prostu wywołać zaproszenie jej rodziców, którzy coraz bardziej wierzyli w mój doskonały wpływ na córkę. Dzięki nim — myślałem — miłości mojej nic nie grozi; z chwilą gdy ich mam za sobą, mogę być spokojny, skoro oni mają pełną władzę nad Gilbertą. Na nieszczęście, z pewnych oznak zniecierpliwienia

Gilberty, kiedy Swann sprowadził mnie niejako wbrew niej, rodziła się we mnie myśl, czy to, com uważał za ochronę mego szczęścia, nie było przeciwnie tajemną przyczyną, dla której nie mogło ono trwać.

Ostatni raz, kiedy zaszedł do Gilberty, padał deszcz; była proszona na lekcję tańców do osób, których za mało znała, aby móc mnie zabrać z sobą. Wziąłem z powodu wilgoci więcej kofeiny niż zazwyczaj. Może z powodu sloty, może przez jakieś uprzedzenie do domu, gdzie zabawa się odbywała, w chwili gdy Gilberta miała wyjść, pani Swann wezwała ją żywo, wołając: „Gilberto!” i wskazała na mnie, mówiąc tym niejako, że przyszedł do niej i że powinna zostać ze mną. Owo „Gilberto” było powiedziane, krzyknięte raczej, w dobrej intencji dla mnie; ale ze sposobu, w jaki Gilberta wzruszyła ramionami, zdejmując okrycie, zrozumiałem, że mimo woli matka przyspieszyła ewolucję, dotąd może jeszcze możebną do powstrzymania, a oddalającą stopniowo ode mnie moją przyjaciółkę. „Nie musi się tańczyć co dzień” — rzekła Odeta z rozsądkiem zapewne przejętym niegdyś od Swanna. Potem, stając się z powrotem Odetą, zaczęła mówić do córki po angielsku. Natychmiast wyrósł jakby mur, który ukrył mi część życia Gilberty, jak gdyby jakiś wrogi duch uniósł ją daleko ode mnie. W języku, który znamy, zastąpiliśmy nieprzezroczyść dźwięków przejrzystością myśli. Ale język, którego nie znamy, jest niby zamknięty pałac, gdzie ukochana istota może nas zdradzić, gdy my, pozostając zewnątrz, rozpaczliwie skuleni w naszej niemocy, nie możemy nic dojrzeć, niczemu zapobiec. Tak ta rozmowa po angielsku, z której byłbym się jedynie uśmiechnął miesiąc wprzód, a pośród której kilka francuskich imion własnych pomnażało jedynie i orientowało moje niepokoje, miała — prowadzona o dwa kroki ode mnie przez dwie nieruchome osoby — to samo okrucieństwo, zostawiała mnie tak samo opuszczonym i samotnym jak uprowadzenie.

Wreszcie pani Swann zostawiła nas. Tego dnia może przez urazę do mnie, mimowolnego sprawcy zmarnowanej zabawy, może i dlatego, że czując złość Gilberty, byłem przez ostrożność chłodniejszy niż zwykle — twarz Gilberty, odarta z wszelkiej radości, naga, spustoszona, zdawała się przez całe popołudnie poświęcać melancholijny żal walcowi, którego pozbawiła ją moja obecność, oraz wyzywać wszelkie stworzenia — poczynając ode mnie — aby zrozumiały subtelne racje jej wielce sentymentalnej skłonności do bostona. Gilberta ograniczyła się do wymienienia na temat pogody, deszczu, spieszącego zegarka, rzadkich zdań punktowanych milczeniem i monosylabami, przy czym ja sam upierałem się w rozpaczliwym szale niszczyć chwile, które mogliśmy byli poświęcić przyjaźni i szczęściu. I każde nasze słowo nabierało czegoś twardego wskutek skurczu swojej paradoksalnej błahości, dającej mi jednak tę pociechę, że nie pozwalała Gilbertce ludzić się co do banalności moich uwag i obojętności tonu. Gdy mówiłem: „Zdaje się, że kiedyś ten zegar raczej się spóźniał!”, ona musiała to tłumaczyć: „Jakaś ty niedobra!”. Daremnie upierałem się wlec przez cały ten dżdżysty dzień słowa bez okienek błękitu; wiedziałem, że mój chłód nie jest czymś tak ostatecznym, jak to udawałem. Jeżeli, powiedziawszy to jej już trzy razy, pozwalał sobie czwarty raz powtórzyć, że dni robią się krótsze, Gilberta musi przecież czuć, że ja zaledwie mogę się wstrzymać od łez! Kiedy ona była taka, kiedy uśmiech nie napełniał jej oczu i nie rozjaśniał twarzy, niepodobna wyrazić, jaka rozpaczliwa monotonia nasyciała jej smutne oczy i pochmurne rysy. Twarz jej, prawie zbielała, podobna była wówczas do owych nudnych plaż, gdzie bardzo dalekie morze męczy nas wciąż jednakim odbłaskiem, w ramie niezmiennego i ograniczonego widnokregu.

W końcu, nie widząc szczęśliwej zmiany, jakiej oczekiwałem od kilku godzin, powiedziałem jej, że nie jest miła. „To ty nie jesteś miły”, odparła. „Ale owszem!”. Pytałem sam siebie, com jej zrobił, i nie mogąc zgadnąć, spytałem o to jej. „Naturalnie, ty uważasz że jesteś miły!” — rzekła, śmiejąc się przeciągle. Wówczas uczulem cały ból zawarty dla mnie w tym, że nie mogę dosięgnąć owego nieuchwytnego drugiego planu jej myśli, opisanego jej śmiechem. Ten śmiech jak gdyby znaczył: „Nie, nie, nie biorę się na wszystko, co mówisz; wiem że szalejesz za mną, ale mnie to ani ziębi, ani grzeje, mam cię w pięcie”. Ale powiadałem sobie, iż ostatecznie śmiech nie jest językiem na tyle ścisłym, abym mógł być pewny, że rozumiem tę mowę. A słowa Gilberty były przyjazne. „Ale w czym nie jestem miły? — pytałem — powiedz mi, a zrobię wszystko, co zechcesz”. — „Nie, to by się nie zdało na nic, nie mogę ci tego wytłumaczyć”. Przez chwilę bałem się, iż ona myśli, że ja jej nie kocham, i to mi sprawiło nowy ból, nie mniej żywy, ale wymagający odmiennej dialektyki. „Gdybyś wiedziała, jak ty mnie dręczysz, powiedzia-

łabyś mi”. Ale ta udręka, która, gdyby Gilberta wątpiła o mojej miłości, powinna by ją ucieszyć, przeciwnie, podrażniła ją. Wówczas, pojmując swój błąd, zdecydowany nie brać już w rachubę jej słów, pozwalając jej — mimo iż w to nie wierzyłem — mówić: „ja cię szczerze kochałam, przekonasz się kiedyś” (owego dnia, w którym, wedle zapewnień przestępców, niewinność ich wyjdzie na jaw, a który, z tajemniczych przyczyn, nie schodzi się nigdy z dniem śledztwa), miałem odwagę powziąć nagle postanowienie nieujrzenia już Gilberty, i to bez oznajmienia jej tego, bo by mi nie uwierzyła.

Zgryzota sprawiona przez osobę, którą kochamy, może być gorzka, nawet kiedy się wciska między myśli, zajęcia, radości, które nie mają za przedmiot owej istoty i od których uwaga nasza odwraca się jedynie od czasu do czasu, aby do niej powrócić. Ale gdy taka zgryzota rodzi się — jak tutaj, w chwili gdy szczęście widywania tej osoby wypełnia nas całkowicie, nagły wstrząs powstający wówczas w naszej duszy, dotąd słonecznej, pewnej i spokojnej, wzniera w nas wściekłą burzę, przeciw której nie wiemy, czy będziemy zdolni walczyć do końca. Burza, jaka huczała w moim sercu, była tak gwałtowna, że wróciłem do domu zmaltretowany, obolały, czując, że nie zdołam odzyskać oddechu inaczej, niż wracając z drogi i spiesząc pod jakim bądź pozorem do Gilberty. Ale ona powiedziałaaby sobie: „Znów on! Stanowczo, mogę sobie na wszystko pozwolić, wróci tym potulniejszy za każdym razem, im nieszczęśliwszy odszedł”. W chwilę potem, myśli moje sprowadzały mnie nieodparcie do niej i te kolejne wahania, ten taniec wewnętrznej busoli, trwały po moim powrocie i wyraziły się w brulionach sprzecznych listów pisanych do Gilberty.

Miałem przeżyć jedną z owych trudnych okoliczności, w których obliczu zdarza się człowiekowi znaleźć kilka razy w życiu i którym, nie zmieniając swojego charakteru i natury — naszej natury, stwarzającej nasze miłości, stwarzającej niemal kobiety, które kochamy, nawet ich błędy — stawiamy czoło za każdym razem (to znaczy w każdym wieku) inaczej. W takich chwilach, życie nasze jest jak gdyby podzielone na części i jakby umieszczone na wadze, na dwóch przeciwległych szalach, gdzie mieści się całe. Na jednej jest nasza chęć niezrażenia zbyt do siebie, niewydania się zbyt pokornym istotie, którą kochamy, nie mogąc jej zrozumieć. Wydaje się nam taktycznie zostawić ją trochę na uboczu, aby nie miała owego uczucia własnej nieodzowności, zdolnego ją odwrócić od nas. Po drugiej stronie jest cierpienie — nie cierpienie umiejscowione i częściowe — które, przeciwnie, mogłoby się ukończyć jedynie wówczas, gdybyśmy pospieszyli do tej kobiety, rezygnując z chęci podobania się jej i pokazania, że się możemy bez niej obejść. Kiedy z szali dźwigającej naszą dumę zdjąć część woli, której słabość nasza pozwoliła się zużyć z wiekiem; kiedy do szali ze zgryzotą przydać cierpienie fizyczne, któremu pozwoliliśmy wzrosnąć — wówczas, zamiast mężnego rozwiązania, jakie by zwyciężyło w dwudziestym roku życia, ugnieśmy się w pięćdziesiątym roku pod drugim, które się stało zbyt ciężkie i nie znajduje przeciwwagi. Tym bardziej, że sytuacje, mimo iż powtarzalne, zmieniają się; grozi nam tedy, iż w połowie życia lub na jego schyłku znajdziemy dla siebie tę oplakaną słabość, aby komplikować miłość dawką przyzwyczajenia, którego nie zna młodość, skrzepowana innymi obowiązkami, mniej swobodna.

Napisałem do Gilberty list, gdzie dałem upust swojej wściekłości, rzucając mimo to pływak ratunkowy kilkoma słowami wtrąconymi niby to przypadkiem, o które mogłoby się zahaczyć pojednanie. W chwilę później wiatr się odwrócił: kleilem tklive frazesy, dla słodczy smętnych wyrażen takich jak „nigdy już”, tak wzruszających dla tego, co je pisze, tak mdłych dla tej, co je czyta. Czy dlatego, że widzi w nich kłamstwo i tłumaczy owo „nigdy już” przez „jeszcze dziś wieczór, jeżeli zechcesz” lub że wierzy w ich prawdę i widzi w nich ostateczne rozstanie, które jest nam tak głęboko obojętne, kiedy chodzi o kogoś niekochanego? Ale, póki kochamy, niezdolni jesteśmy działać jak godni poprzednicy przyszłej istoty, którą będziemy i która nie będzie już kochała; jakim cudem moglibyśmy tedy sobie uprzytomnić całkowicie stan duszy kobiety, której — gdybyśmy nawet widzieli, że jej jesteśmy obojętni — w marzeniach swoich kazaliśmy mówić te same słowa, co gdyby nas kochała, pragnąc się kołysać pięknym snem lub pocieszyć się w zgryzocie. Wobec myśli i czynów kochanej kobiety jesteśmy równie zdezorientowani, jak mogli nimi być pierwsi fizycy w obliczu zjawisk przyrody, zanim powstała wiedza, wnosząc nieco światła w nieznanne. Lub, gorzej jeszcze, jak istota, dla której zasada przyczynowości zaledwie by istniała; istota niezdolna ustalić związku między jednym a drugim zjawiskiem i w której oczach obraz świata byłby mglisty jak senne marzenie.

Zapewne, sililem się wyjść z tego chaosu, znaleźć przyczyny. Starałem się nawet być „obiektywny” i ściśle brać w rachubę niestosunek między ważnością, jaką ma dla mnie Gilberta, a tą, jaką nie tylko ja mam dla niej, ale jaką ona sama ma dla innych. Gdybym tego poniechał, groziłoby mi, że prostą uprzejmość Gilberty mógłbym wziąć za namiętne wyznanie, a śmieszny i upadający krok z mojej strony za naturalny i wdzięczny gest wobec pięknej kobiety. Ale bałem się również popaść w przeciwną ostateczność, która w spóźnieniu się Gilberty na schadzki kazałaby mi dojrzeć niechęć lub nieubłaganą wrogość. Między tymi dwiema perspektywami jednak sztucznymi, starałem się znaleźć tę, która by mi dała najtrafniejszy obraz; obliczenia, jakie mi było trzeba podjąć w tym celu, rozpraszały nieco moją mękę; i czy to przez posłuszeństwo wobec wymowy cyfr, czy żem im kazał mówić to, czegom pragnął, postanowiłem nazajutrz iść do Swannów, szczęśliwy, ale tak jak ludzie, co długo nadręczywszy się podróżą, na którą nie mają ochoty, jadą nie dalej niż na dworzec i wracają do domu rozpakować walizy. A że, podczas gdy się wahały, sama myśl możliwego rozwiązania (chyba że się ubezwładni tę myśl, postanawiając, że się nie poweźmie decyzji) rozwija, niby żywe ziarno, wszystkie zarysy i szczegóły wzruszeń, jakie by się zrodziły z dokonanego czynku, powiedziałem sobie, iż byłbym bardzo niemądry, postanowieniem nie widzenia już Gilberty zadając sobie tyle bólu, co gdybym miał ziścić ten zamiar: i że skoro — przeciwnie — ma się to skończyć pójdę do niej, mogłem być sobie oszczędzić tylu wahań i bolesnych postanowień. Ale to wskrzeszenie przyjacielskich stosunków trwało tylko przez czas potrzebny, aby zająć do Swannów; nie dlatego iż kamerdyner, który mnie bardzo lubił, oznajmił mi, że Gilberta wyszła (dowiedziałem się jeszcze tego wieczora, od osób, które ją spotkały, że to była prawda), ale ze sposobu, w jaki mi to powiedział: „Proszę pana, panią wyszła, mogę panu zaręczyć, że nie kłamie. Jeżeli pan chce się przekonać, mogę zawołać pokojową. Niech mi pan wierzy, że zrobiłbym wszystko, aby panu sprawić przyjemność i że gdyby panią była w domu, zaraz wprowadziłbym pana”.

Słowa te — z rodzaju, który jest jedyny ważny — mimowolne, dające nam pobieżny bodaj radiogram niepodejrzanej rzeczywistości, jaką skryłyby słowa obmyślane, dowodziły, że w otoczeniu Gilberty istniało wrażenie, że ja jestem jej natrętny; toteż, ledwie kamerdyner wyrzekł te słowa, zrodziły one we mnie nienawiść, której zamiast Gilberty wolałem wydać na łup kamerdynera. Skupił na sobie wszystkie uczucia gniewu, jakie mogłem wprzód żywić do swojej przyjaciółki; przetrwała tylko sama moja miłość, oczyszczona z tych uczuć, dzięki jego słowom; ale równocześnie przekonały mnie one, że powinien przez jakiś czas nie starać się widzieć Gilberty. Z pewnością napisze do mnie, aby się usprawiedliwić. Mimo to, nie poszedłbym zaraz do niej: trzeba jej dowieść, że mogę żyć bez niej. Zresztą, skoro bym już otrzymał list od Gilberty, widzenie jej byłoby rzeczą, której mógłbym się najłatwiej przez jakiś czas wyrzec, bo byłbym pewny, że ją odnajdę, gdy zechcę.

Czego mi było trzeba, aby mniej smutno znieść dobrowolną rozłąkę, to wyzwolenia mego serca ze straszliwej niepewności, czy nie jesteśmy poróżnieni na zawsze, czy ona się nie zaręczyła, czy nie wyjechała, czy jej nie porwano.

Dnie, które nastąpiły, podobne były do owych dawnych dni noworocznego tygodnia, który miałem spędzić bez Gilberty. Ale wówczas, po upływie tego tygodnia, Gilberta miała wrócić na Pola Elizejskie, miałem ją ujrzeć jak wprzód, byłem tego pewny; z drugiej strony z nie mniejszą pewnością wiedziałem, że dopóki będą trwały ferie, nie ma po co chodzić na Pola Elizejskie. Tak iż podczas owego smutnego tygodnia, tak już odległego, znośmłem smutek spokojnie, bo go nie mąciła ani obawa, ani nadzieja. Teraz, przeciwnie, nadzieja niemal tyleż co obawa — czyniła mój ból czymś nie do zniesienia.

Nie otrzymawszy listu od Gilberty tego samego wieczora, przypisywałem to jej niebdaństwu, jej zajęciom; nie wątpiłem, że dostanę od niej bilecik ranną pocztą. Oczekiwałem go co dzień z biciem serca, po którym następowało przygnębienie, kiedym znajdował jedynie listy od osób niebędących Gilbertą albo też nic, co nie było najgorsze, bo dowody przyjaźni innej osoby czyniły mi obojętność Gilberty tym okrutniejszą. Przesuwałem nadzieję na popołudniową pocztę. Ale nawet między godzinami poczty nie śmiałem wyjść, bo Gilberta mogła przesłać list przez służącego. W końcu nadchodziła chwila, gdy nie mógł przyjść ani listonosz, ani lokaj od Swannów; trzeba było odłożyć do jutra rana nadzieję ukojenia; w ten sposób, przez to, że myślałem, iż cierpienie moje nie będzie trwałe,

musiałem niejako odnawiać je bez ustanku. Zgryzota była może ta sama, ale zamiast, jak niegdyś, przedłużać jednostajnie początkowy stan, wracała kilka razy dziennie, zaczynając się wzruszeniem tak często odnawianym, że w końcu stan ten czysto fizyczny, chwilowy, utrwalał się. Ledwo emocje oczekiwania miały się czas uspokoić, już przychodziła nowa racja spodziewania się: wreszcie nie było już w dniu ani minuty, w której bym nie odczuwał owego ucisku serca, tak trudnego do zniesienia bodaj przez godzinę. Tak więc męka moja była nieskończenie okrutniejsza niż w czasach owego dawnego Nowego Roku, bo tym razem — w miejsce prostego pogodzenia się z cierpieniem — była we mnie nieustanna nadzieja, że ono ustanie. Doszedłem jednak do tej rezygnacji: wówczas zrozumiałem, że musi być ostateczna. Wyrzekłem się na zawsze Gilberty w samym interesie swojej miłości, pragnąc przede wszystkim, aby Gilberta nie zachowała dla mnie we wspomnieniu wzgardy. Od tego czasu nawet, nie chcąc, aby mogła przypuszczać jakąś grę miłosną z mojej strony, kiedy później Gilberta naznaczała mi spotkania, przyjmowałem je często, a w ostatniej chwili pisałem, że nie mogę przyjść; ale zaręczając, że mi jest bardzo przykro, tak jakbym robił w stosunku do kogoś, kogo nie miałbym ochoty widzieć. Owe wyrazy żalu, jakie znajdujemy zazwyczaj dla ludzi obojętnych, lepiej, sądziłem, upewnią Gilbertę o mojej obojętności, niżby to zrobił obojętny ton, przybierany jedynie wobec tych, których kochamy. Kiedy za pomocą powtarzających się wciąż postępów dowiodłbym Gilbertce, lepiej niż za pomocą słów, że nie zależy mi na jej widzeniu, może jej zaczęłoby zależeć na mnie. Niestety! to byłoby daremne: starać się, przez niewidywanie jej, wskrziesić w niej ową chęć widzenia mnie, znaczyło tracić Gilbertę na zawsze; najpierw dlatego, że w razie odroczenia się w niej tej ochoty, o ile bym chciał, żeby owa chęć trwała, nie powinienym ulec jej od razu: zresztą najokrutniejsze godziny byłyby już przeszły; to teraz, w tej chwili Gilberta była mi nieodzowna, i byłbym chciał móc ją ostrzec, że niebawem, widując mnie znowu, ukoi jedynie ból tak zmniejszony, że nie będzie on już — jak byłby jeszcze w tej chwili — powodem do kapitulacji, do pojednania, do widywania się znowu. A później, gdyby skłonność Gilberty do mnie odżyła tak dalece, że mógłbym bez niebezpieczeństwa wyznać jej swoją miłość, ta miłość nie oparłaby się tak długiej nieobecności i nie istniałaby już; Gilberta stałaby mi się obojętna. Wiedziałem o tym, ale nie mogłem jej tego powiedzieć; myślałaby, iż jeśli twierdzę, że przestałbym ją kochać, nie widząc jej zbyt długo, to tylko po to, aby mnie czym prędzej wezwała do siebie.

Chciałem, aby sobie Gilberta dobrze zdała sprawę, że mimo iż piszę inaczej, moja wola, a nie jakaś przeszkoda, nie mój stan zdrowia, pozbawia mnie jej widoku. Dlatego — i to czyniło mi łatwiejszą tę dobrowolną rozłąkę — za każdym razem, kiedy wiedział, iż Gilberty nie będzie w domu, bo miała wyjść z przyjaciółką i nie wrócić na obiad, szedłem z wizytą do pani Swann. Pani Swann stała się znów dla mnie tym, czym była wówczas, gdy mi tak trudno było widywać jej córkę i kiedy, w dni, gdy Gilberta nie przychodziła na Pola Elizejskie, zapuszczałem się w *avenue des Accacias*. Dzięki temu słyszałem o Gilbertce i byłem pewny, że i ona też usłyszy o mnie, i to w sposób dowodzący jej, że mi na niej nie zależy. I jak wszyscy, co cierpią, uważałem, że moje smutne położenie mogłoby być gorsze. Bo mając wolny wstęp do domu Gilberty, powiadałem sobie zawsze — mimo iż zdecydowany nie korzystać z tego prawa — że gdyby moje cierpienie stało się zbyt mocne, mógłbym mu położyć kres. Byłem nieszczęśliwy jedynie z dnia na dzień. I to jeszcze za wiele powiedziane. Ileż razy na godzinę (ale teraz bez trwożnego oczekiwania, które mnie dławilo w pierwszych tygodniach naszej zwady, zanim jeszcze wróciłem do Swannów) przepowiadałem sobie list, jaki Gilberta prześle mi kiedyś, może przyniesie mi go sama. Ciągła wizja tego urojonego szczęścia pomagała mi znieść ruinę szczęścia rzeczywistego. Wobec kobiet, które nas nie kochają, jak wobec tych, co „znikli”, świadomość braku wszelkiej nadziei nie przeszkadza nam dalej czekać. Żyje się na czatach, nadśluchuje się; matki, których syn puścił się na niebezpieczną wyprawę morską, wyobrażają sobie co chwilę — mimo iż pewność zguby od dawna jest faktem — że zjawi się nagle, cudownie ocalony i zdrów. I to oczekiwanie, zależnie od siły pamięci i odporności organów, albo pomaga im przetrwać lata, po upływie których zniosą to, że ich syn nie żyje, daje im zapominać pomału i przetrwać — albo też zabija je.

Z drugiej strony, zmartwienie moje czerpało nieco pociechy w myśli, że ono wychodzi na dobro mojej miłości. Każda wizyta, jaką składałem pani Swann bez widzenia Gilberty, była mi okrutna, ale czułem, że o tyleż poprawia pojęcie Gilberty o mnie.

Zresztą, jeżeli zawsze, nim poszedłem do pani Swann, starałem się być pewny nieobecności Gilberty, wynikało to może zarówno z chęci podtrzymania zwady, co z nadziei pogodzenia się, pokrywającej moją wolę zerwania i zasłaniającej mi to, co w tej woli było zbyt okrutne. Mało jest uczuć absolutnych — przynajmniej w sposób ciągły — w owej duszy ludzkiej, której jednym z praw, wzmocnionym przez niespodziane przyipywy różnych wspomnień, jest ruch wahadłowy. Wiedziałem dobrze, jak bardzo nadzieja ta jest złudna. Byłem niby ubogi, który mniej skrapia łzami swój suchy kawał chleba, kiedy sobie powiada, że za chwilę może ktoś obcy zapisze mu cały majątek. Aby uczynić rzeczywistość znośną, musimy podsycać w sobie jakieś drobne szaleństwa. Otóż moja nadzieja utrzymywała się w lepszym stanie — przy równoczesnym skuteczniejszym spełnianiu się rozłąki — kiedy nie widywał Gilberty. Gdybym się z nią spotkał twarzą w twarz u jej matki, wymienilibyśmy może słowa nie do naprawienia, które uczyniłyby rozstanie czymś bez ratunku, zabiłyby moją nadzieję, a z drugiej strony, stwarzając nowy ucisk serca, rozbudziłyby moją miłość i utrudniły rezygnację.

Od bardzo dawna i na długo przed moim zerwaniem z Gilbertą, pani Swann powiadała mi: „To bardzo ładnie, że pan odwiedza Gilbertę, ale ja chciałabym także, aby pan przychodził czasem *dla mnie*; nie na mój »żurek«, gdzie by się pan nudził, bo jest za dużo ludzi, ale w inne dni; nad wieczorem zawsze zastanie mnie pan w domu”. Wydawało się tedy, że zachodząc do pani Swann, spełniam jedynie — z opóźnieniem — własne jej dawniejsze życzenie. I bardzo późno, prawie w chwili, gdy rodzice siadali do stołu, szedłem do pani Swann z wizytą, wiedząc, że nie ujrzę Gilberty, a mimo to myśląc przez cały czas tylko o niej.

Owa dzielnica Paryża uchodziła wówczas za odległą. Paryż był ciemniejszy niż dziś; nawet w centrum nie było elektryczności na ulicach, a bardzo mało w domach. Lampy w salonie na parterze lub na niskim półpiętrze (gdzie znajdowały się salony recepcyjne pani Swann) wystarczały, aby oświetlić ulicę i ściągnąć oczy przechodnia, który wiązał z ich blaskiem — niby z widoczną i zamgloną przyczyną tego zjawiska — obecność paru eleganckich pojazdów przed bramą. Przechodzień odgadywał, nie bez pewnej emocji, zmianę zaszłą w tej tajemniczej przyczynie, gdy widział, że któryś powóz rusza; ale to tylko stangret, obawiając się, by konie nie zmarzły, przejeżdżał je trochę. Wrażenie było tym większe, bo gumowe koła dawały krokowi koni tło milczenia, na którym się odcinał ich chód wyraźniej i dokładniej.

„Zimowy ogród”, jaki w owych latach przechodzień mógł oglądać na każdej ulicy, o ile mieszkanie nie było zbyt wysoko, widuje się już tylko w heliograviurach książek „na prezent” P. J. Stahla. W przeciwieństwie do skąpych roślin w dzisiejszych salonach *Louis XVI* — róża lub irys japoński, w kryształowym wazonie o długiej szyi, niezdolnej pomieścić ani jednego kwiatu więcej — można by rzec, że owa mnogość pokojowych krzewów hodowanych wówczas, przy absolutnym braku artyzmu w ich układzie, musiała odpowiadać raczej jakiejś żywej i rozkosznej pasji pań domu do botaniki niż zimnej trosce o martwą dekorację. Zimowy ogród w ówczesnych mieszkaniach przywodził na myśl w powiększeniu — owe miniaturowe i przenośne cieplarnie, ustawione rano w Nowy Rok pod zapaloną lampą — ile że dzieci nie miały cierpliwości czekać, aby się zrobił dzień — pomiędzy innymi noworocznymi podarkami, jako najpiękniejszy z nich, łągodzący zimową nagość roślinami, które będzie można pielęgnować. Bardziej jeszcze niż do samych tych cieplarni, „ogrody zimowe” podobne były do tej, którą widziało się tuż obok nich, wyobrażoną w pięknej książce — również podarek noworoczny — a która, mimo iż przeznaczona nie dla dzieci, lecz dla panny Lili, bohaterki dzieła, zachwycała je do tego stopnia, że obecnie, niemal jako starcy, pytają się, czy w owych szczęśliwych latach zima nie była najpiękniejszą porą roku. Wreszcie w głębi tego zimowego ogrodu, poprzez wszelkiego rodzaju krzewy, które, widziane z ulicy, czyniły to oświetlone okno podobnym do witrażu owych cieplarni dziecięcych — malowanych lub prawdziwych — przechodzień, wspinając się na palce, spostrzegał zazwyczaj mężczyznę w tużurku, z gardenią lub goździkiem w butonierce, stojącego przed siedzącą kobietą — oboje mgliści, niby wyrzuci w topazie w atmosferze salonu, nasyconego przez samowar świeżo impor-



towany wówczas — ambrawą oparów, wydzielających się z niego może i dziś, ale wskutek przyzwyczajenia już niewidzialnych nikomu.

Pani Swann przywiązywała wielką wagę do tej „herbaty”; sądziła, że okaże uroczą oryginalność, powiadając komuś: „Zastanie mnie pan co dzień nad wieczorem, niech pan przyjdzie na filiżankę herbaty”, subtelnym i łagodnym uśmiechem podkreślając te słowa, wymawiane z lekkim angielskim akcentem. I gość, kłaniając się uroczyście, przyjmował do wiadomości, tak jakby one były czymś ważnym i niezwykle, czymś, co nakazuje szacunek i żąda uwagi.

Była jeszcze inna przyczyna, dla której kwiaty w salonie pani Swann nie miały jedynie charakteru ozdoby; a ta przyczyna nie wiązała się z epoką, lecz po części z dawnym życiem Odety. Wielka kokota, jaką była niegdyś, żyje dużo dla swoich kochanków, to znaczy u siebie, co ją może przywieść do tego, aby żyła dla siebie. Rzeczy, które w domu uczciwej kobiety mogą mieć dla niej niewątpliwie pewne znaczenie, dla kokoty mają go najwięcej. Punktem kulminacyjnym jej dnia jest nie chwila, gdy się ubiera dla świata, ale gdy się rozbiera dla mężczyzny. Musi być równie wykwintna w szlafrocжку, w nocnej koszuli, co w sukni wizytowej. Inne kobiety pokazują swoje klejnoty, ona żyje w dezabilu swoich pereł. Ten rodzaj egzystencji narzuca obowiązki, a z czasem upodobanie zbytku sekretnego, to znaczy niemal bezinteresownego. Pani Swann rozciągała go na kwiaty. Koło jej fotela stała zawsze olbrzymia kryształowa czara pełna fiołków parmeńskich lub margerytek oskubywanych w wodzie, zdająca się świadczyć w oczach przybyłego o jakimś ulubionym i przerwanyemu zajęciu, — niby filiżanka herbaty, którą pani Swann piłaby sama, dla swojej przyjemności; o jakimś zajęciu poufniejszym nawet i bardziej tajemniczym. Widząc te rozrzucone kwiaty, miało się ochotę przeprosić, tak jakby się przeprosiło spojrzawszy na tytuł otwartej jeszcze książki, zdradzającej świeżą lekturę, zatem może obecne myśli Odety. I, bardziej niż książka, kwiaty żyły; kiedy się wchodziło do pani Swann, było się zakłopotanym, widząc, że nie jest sama, lub kiedy się z nią wracało, że salon nie jest pusty, tak bardzo kwiaty zajmowały w nim miejsce zagadkowe, odnoszące się do tych godzin pani domu, których się nie znało. Kwiaty te nie były przygotowane dla gości Odety, ale jakby zapomniane tam przez nią; miały i mogły z nią jeszcze mieć poufne rozmowy, których bałoby się przerwać i których sekret na próżno próbowałoby się odczytać, wlepiając oczy w wypłukany, płynny i wodnisty kolor lila fiołków parmeńskich.

Od końca października Odeta wracała jak mogła najregularniej na herbatę, którą nazywało się jeszcze wówczas „*five o'clock tea*”, słyszała bowiem (i lubiła to powtarzać) iż, jeżeli pani Verdurin stworzyła sobie salon, to dlatego, że się zawsze miało pewność zastania jej w domu o tej samej godzinie. Odeta wyobrażała sobie sama, że ma salon w tym samym stylu, ale swobodniejszy, *senza rigore*, jak lubiła powiadać. Uważała siebie samą za rodzaj panny de Lespinasse i sądziła, iż stworzyła konkurencyjny salon, zabierając pani du Deffant z jej gromadki ludzi najprzyjemniejszych, w szczególności Swanna, który podzielił secesję Odety i jej odosobnienie. Można zrozumieć, że tę wersję Odeta mogła wmówić w nowych znajomych, nieświadomych przeszłości; trudniej, że uwierzyła w nią sama. Ale niektóre ulubione role tyle razy graliśmy w świecie i tak oklepaliliśmy je w samych sobie, że łatwiej powołujemy się na ich fikcyjne świadectwo niż na świadectwo zupełnie prawie zapomnianej rzeczywistości.

W dni, kiedy pani Swann wcale nie wychodziła, można ją było zastać w szlafrocжку *crêpe de Chine*, białym niby pierwszy śnieg; czasem w owych długich zwojach jedwabnego muślinu, wyglądających niby usłanie z różowych i białych płatków; strój, który dziś uznano by — bardzo niesłusznie — za niezbyt odpowiedni na zimę. Bo te lekkie materie i te dyskretne kolory dawały kobiecie — w ówczesnych przegrzanych i obwarowanych portierami salonach, o których najwytworniejsze określenie światowych powieściopisarzy owej epoki mówiło, że były „wysłane jak gniazdko” — ten sam zziębnięty wygląd co różom, które mogły się tam znaleźć koło niej, mimo zimy, w szkarłacie swojej nagości, jak na wiosnę. Wskutek stłumienia dźwięków przez dywany, zablokowana w nyży pani domu nie słyszała twojego wejścia, jak je słyszy dzisiaj; czytała dalej, kiedyś już był prawie przy niej, co pomnażało jeszcze wrażenie romantyczności, urok jak gdyby podchwyconej tajemnicy, przechowany we wspomnieniu owych sukien już wówczas niemodnych, które pani Swann sama jedna może jeszcze zachowała, a które dają nam złudzenie, że obleczona

w nie kobieta musiała być bohaterką romansu, bo my przeważnie widywaliśmy je tylko w romansach pana Henry Gréville.

Teraz, z początkiem zimy, Odeta miała w salonie olbrzymie różnobarwne chryzantemy, jakich niegdyś Swann nie byłby jeszcze mógł u niej oglądać. Złocenie te budziły mój podziw, kiedyś składał pani Swann jedną z owych smutnych wizyt, w których, siłą swojej zgrzyoty, odnajdywałem w Odecie całą tajemniczą poezję matki owej Gilberty, której miała rzec nazajutrz: „Twój przyjaciel był u mnie”. Podziw ów pochodził zapewne stąd, że te kwiaty, bladuróżowe niby jedwab *Louis XIV* na fotelach w salonie Odety, śnieżne jak jej krepdeszynowy szlafroczek lub metalicznie czerwone jak jej samowar, przydawały salonowi jeszcze jedną dekorację o kolorze równie bogatym i wyszukany, ale żywą i mającą trwać tylko kilka dni. Wzruszało mnie, że te złocenie miały coś nie tyle znikomego, ile raczej trwałego w stosunku do owych różowych i miedzianych tonów, jakie zachód słońca tak wspaniale wzniesła we mgle listopadowych zmierzchów, i że, ujrawszy owe tony — nim wszedłem do pani Swann — gasnące na niebie, odnajdowałem je przedłużone, przeniesione na płomienną paletę kwiatów. Niby ognie, wyrwane przez wielkiego kolorystę zmiennemu powietrzu i słońcu, aby służyły ku ozdobie ludzkiego mieszkania, złocenie te zapraszały mnie, mimo całego smutku, abym chciwie kosztował, w tej godzinie herbaty, tak krótkich uroków listopada, którego poufną i tajemniczą wspaniałość roztaczały przede mną. Niestety, nie w rozmowach, którym słyszał, mogłem jej dosięgnąć; mało były do niej podobne. Nawet z panią Cottard, i mimo że godzina była późna, pani Swann przybierała ton kokieteryjny, mówiąc: „Ale nie, nie jest późno, niech droga pani nie patrzy na zegar, nie ma tyle, zegar nie chodzi, co pani może mieć tak pilnego do roboty”; i podawała jeszcze jedną tartynkę żonie profesora, która zachowała w rękę swoje *porte-cartes*.

„Nie można się wyrwać z tego domu” — mówiła pani Bontemps do pani Swann, gdy pani Cottard, zdumiona, że słyszy w jej ustach swoją własną myśl, wykrzykiwała: „Właśnie to sobie zawsze powiadam, na mój skromny rozumek, w moim samopoczuciu”, zyskując uznanie panów z Jockey Clubu, którzy zginali się w ukłonach, jak gdyby przytłoczeni takim honorem, kiedy pani Swann przedstawiała ich tej nieciekawej mieszczce, która wobec świetnych przyjaciół Odety zachowywała rezerwę, o ile nie to, co nazywała „defensywą”, posługiwała się bowiem zawsze szlachetnym słownictwem dla rzeczy prostych. „Ani bym myślała, już trzy środy pani mnie zdradza”, powiadała pani Swann do pani Cottard. „To prawda, pani Odeto, już *wieki całe, całą wieczność* pani nie widziałam. Widzi pani, że się kajam, ale muszę się pani przyznać — dodawała wstydliwym i tajemniczym tonem, mimo bowiem iż była żoną lekarza, nie odważyłaby się wspomnieć bez omówień o reumatyzmie lub kamicy nerkowej — że miałam dużo swoich małych bied. Każdy ma swoje. A potem, miałam rewolucję pałacową w swoim męskim personelu. Mimo iż nie stoję zbyt na straży własnego autorytetu, musiałam dla przykładu odprawić mistrza patelni, który, zdaje mi się, szukał zresztą lukratywniejszej posady. Ale jego odejście omal nie spowodowało dymisji całego gabinetu. Pokojowa również nie chciała zostać, były homeryckie sceny! Mimo wszystko, trzymałam krzepko ster, to jest prawdziwa nauka życia, która nie pójdzie dla mnie na marne. Nudzę panią tymi kuchennymi historiami, ale pani wie jak ja, co to za utrapienie być zmuszoną do przegrupowań w swoim personelu?”

— Czy nie ujrzymy pani uroczej córeczki? — spytała pani Cottard, przechodząc do innego tematu.

— Nie, uroczą córeczką ma obiad u przyjaciółki — odpowiadała pani Swann i dodawała, zwracając się do mnie:

— Zdaje mi się, że pisała do pana, żeby ją pan odwiedził jutro. A pani *babys*? — pytała żony profesora.

Oddychałem głęboko. Te słowa pani Swann, które mi dowodziły, że mógłbym widzieć Gilbertę, kiedy bym chciał, przynosiły mi właśnie ulgę, po którą przyszedłem i która w owej epoce czyniła mi wizyty u pani Swann czymś tak koniecznym.

— Nie, ale napiszę do niej słówko dziś jeszcze. Nie możemy się już widywać z Gilbertą — dodawałem, jak gdyby przypisując nasze zerwanie tajemniczej przyczynie, co mi jeszcze dawało złudzenie miłości, podtrzymywane również serdecznością, z jaką mówiłem o Gilbertce, a ona o mnie.

— Pan wie, jak ona jest do pana przywiązana — mówiła pani Swann — Naprawdę nie chce pan przyjść jutro?

Odczuwałem przyływ nagłej radości, mówiłem sobie: „W gruncie rzeczy, czemu nie, skoro jej własna matka mi to proponuje?”. Ale tuż potem zapadałem w dawny smutek. Bałem się, iż, widząc mnie znowu, Gilberta mogłaby pomyśleć, że moja obojętność z ostatnich czasów była komedią; wołałem tedy raczej przedłużyć niewidzenie się.

W czasie tej wymiany słów, pani Bontemps skarżyła się na nudę przestawania z żonami polityków; bo popisywała się tym, że wszyscy ją nudzą i śmieją i że pozycja męża jej ciąży.

— Więc pani jest w stanie przyjmować pięćdziesiąt żon lekarzy z rzędu — mówiła do pani Cottard, która, przeciwnie, była pełna życzliwości dla każdego i pełna szacunku dla wszelkich obowiązków. — Och, pani ma zdrowie! Ja w ministerstwie, nieprawdaż, jestem zmuszona, rozumie się. I wie pani, to jest silniejsze ode mnie, wie pani, te żony urzędników... nie mogę się wstrzymać, aby im nie pokazać języka. Moja siostrzenica Albertyna jest taka jak ja. Nie ma pani pojęcia, jaka ta mała jest cięta. W zeszłym tygodniu była na moim żurze żona wiceministra finansów i powiedziała, że się nie zna na kuchni. „Ależ, proszę pani — odparła Albertyna z najmiłym uśmiechem — musi pani przecież mieć o tym jakieś pojęcie, skoro ojciec pani był kuchcikiem”.

— Och, bardzo lubię tę historię, to mi się wydaje urocze — rzekła pani Swann. — Ale przynajmniej na dni ordynacji doktora powinna by pani mieć swój mały *home*, swoje kwiaty, książki, to co pani lubi — doradzała profesorowej.

— I tak trzask prask, tak jej wygarnęła w żywe oczy, bez ceremonii. I nie uprzedziła mnie o niczym, szelmutka, ona jest sprytna, istna małpka. Pani jest szczęśliwa, że się pani umie powstrzymać; zazdroszczę ludziom, którzy umieją skrywać to, co myślą.

— Ależ ja tego nie potrzebuję, ja nie jestem taka wybredna — odpowiadała łagodnie pani Cottard. — Zresztą ja nie mam tych samych praw co pani — dodała nieco silniejszym głosem, którym podkreślała swoje słowa, ilekroć wsuwała w konwersację owe delikatne grzeczności, owe zmyślne pochlebstwa, budzące podziw profesora i pomagające mu w karierze. — A przy tym ja robię chętnie wszystko, co może być pożyteczne profesorowi.

— Ależ, droga pani, trzeba móc. Zapewne pani nie jest nerwowa. Ja, kiedy widzę żonę ministra wojny robiącą swoje minki, zaraz zaczynam ją imitować. To straszne, mieć taką naturę.

— Och, tak — rzekła pani Cottard — słyszałam, że ona ma tiki. Mój mąż zna również kogoś bardzo wysoko położonego i, naturalnie, kiedy ci panowie rozmawiają między sobą...

— Widzi pani, to tak jak z szefem protokołu, który jest garbaty; to murowane, jeszcze nie siedzi u mnie pięciu minut, a już muszę dotknąć jego garbu. Mąż mówi, że mu napytam dymisję. Ech, gwizdź na to całe ministerium. Tak, gwizdź na całe ministerium! Chciałabym to umieścić jako dewizę na swoim papierze listowym. Jestem pewna, że panią gorszę, bo pani jest dobra; co do mnie, przyznaję, że nic mnie tak nie cieszy, jak zrobić komuś małe świństwko. Bez tego życie byłoby bardzo monotonne.

I dalej mówiła cały czas o ministerium, tak jakby to był Olimp. Aby odmienić rozmowę, pani Swann zwróciła się do pani Cottard:

— Ale pani mi coś bardzo piękna? *Redfern fecit?*

— Nie, pani wie, że ja jestem wyznawczynią Rauthnitza. Zresztą to przerabiane.

— No, wie pani, ten szyk!...

— Ile pani myśli?... Nie, niech pani zmieni pierwszą cyfrę.

— Jak to! Ależ to za darmo, to darowane! Powiedziano mi trzy razy tyle.

— Oto, jak się pisze historię — zakończyła żona doktora. I, pokazując pani Swann naszyjnik, który dostała od niej w prezencie, rzekła:

— Popatrz pani, pani Odeto. Poznaje pani?

W rozchyleniu portierny zjawiała się głowa ceremonialnie pochylona, udająca przez żart obawę, że przeszkadza: to był Swann.

— Odeto, książkę d'Agriente jest w moim gabinecie i pyta, czy może złożyć swoje uszanowanie. Co mam powiedzieć?

— Że będę zachwycona — mówiła Odeta z zadowoleniem, nie wychodząc ze spokoju, który był jej o tyle łatwiejszy, iż zawsze, nawet jako kokota, przyjmowała ludzi z wielkiego świata.

Swann szedł powtórzyć zaproszenie i w towarzystwie księcia wkraczał do salonu, o ile wśród tego nie zjawiała się pani Verdurin. Żeniąc się z Odetą, Swann prosił jej, aby nie utrzymywała stosunków z „paczką” (miał po temu wiele powodów, a gdyby ich nie miał, byłby postąpił tak samo, ulegając prawu niewdzięczności, które nie zna wyjątków i które stwierdza nieopatrność lub bezinteresowność wszystkich stręczycieli). Zgodził się jedynie, aby Odeta wymieniała z panią Verdurin dwie wizyty rocznie, co się jeszcze wydawało nadmierne niektórym wiernym, oburzonym zniewagą wyrządzoną „pryncypałce”, która przez tyle lat traktowała Odetę, a nawet Swanna, jak pieszczone dzieci swego salonu.

Bo o ile istnieli zdrajcy, którzy opuszczali niektóre wieczory, aby pospieszyć cichaczem na zaproszenie Odety, gotowi, w razie gdyby ich odkryto, wymówić się ciekawością poznania Bergotte’a (mimo iż pryncypałka twierdziła, że on nie bywa u Swannów, że nie ma talentu, a mimo to, starała się go wedle swego ulubionego wyrażenia — *ściągnąć*), salon miał też swoich fanatyków. I ci, nieświadomi szczególnych okoliczności, często powstrzymujących ludzi od ostatecznych kroków, jakie by się chętnie u nich widziało, aby się ucieszyć czyjąś przykrością, byliby pragnęli — nadaremnie — aby pani Verdurin zerwała wszystkie stosunki z Odetą i odjęła jej tym samym przyjemność mówienia ze śmiechem: „Bardzo rzadko bywamy u pryncypałki od czasu schizmy. To było jeszcze możliwe, póki mąż był kawalerem, ale małżeństwo, to już trochę inna sprawa... Mąż, aby panu rzec prawdę, nie trawi starej Verdurin i nie bardzo by był zachwycony, gdybym się tam zagnieżdżyła. A ja, wierna małżonka...”. Swann towarzyszył żonie do Verdurinów na prośzone wieczory, ale starał się nie być w domu, kiedy pani Verdurin odwiedzała Odetę. Toteż, kiedy „pryncypałka” była w salonie, książę d’Agrigente wchodził sam. I tylko jego przedstawiała Odeta, która wołała, aby pani Verdurin nie słyszała niechlubnych nazwisk i aby, widząc sporo nieznanych twarzy, mogła sądzić, że pływa w śmietance arystokracji. Rachuba ta udawała się tak, że wieczorem pani Verdurin powiadała z niesmakiem do męża: „Uroczy świat! Był tam cały kwiat reakcji!”.

Odeta żyła w stosunku do pani Verdurin w odwrotnym złudzeniu. Nie, iżby salon „pryncypałki”, nawet w przybliżeniu, zaczynał w owym czasie stawać się tym, czym stał się kiedyś. Pani Verdurin nie była jeszcze nawet w owym okresie inkubacji, kiedy kasuje się wielkie przyjęcia, gdzie rzadkie a świeżo nabyte świetne elementy utonęłyby w ciżbie, i kiedy woli się czekać, aż zdolność rozrodza dziesięciu sprawiedliwych, jakich zdołało się ściągnąć, wyda ich siedemdziesiąt razy po dziesięć. Jak to miała rychło uczynić Odeta, tak i pani Verdurin brała na cel „wielki świat”; ale odcinki jej ataku były jeszcze tak ograniczone i zresztą tak odległe od tych, przez które Odeta miała niejaką szansę dojść do tegoż wyniku, do wybicia się na wierzch, że pani Swann żyła w najzupełniejszej nieświadomości strategicznych planów wypracowanych przez jej „eks-pryncypałkę”. I kiedy ktoś mówił o pani Verdurin jako o snobce, Odeta zaczynała się najszczerzej śmiać i powiadała: „Wręcz przeciwnie. Po pierwsze, nie ma warunków, nie zna nikogo. Po wtóre, trzeba jej oddać sprawiedliwość, że ona tak woli. Nie, ona lubi tylko swoje środy, ludzi, którzy umieją rozmawiać”. I potajemnie zazdrościła pani Verdurin (mimo iż nie wątpiła, że ona sama w tak dobrej szkole nabrała podobnej wiedzy) owych kunsztów, do których „pryncypałka” przywiązywała tak wielką wagę, mimo że one tylko niuansują nicosć, rzeźbią próżnię i są, ściśle mówiąc, sztukami Nicości: sztuki (u pani domu) „skupiania”, „grupowania”, „podawania”, „usuwania się w cień”, stawania się „łącznikiem”.

Bądź co bądź, przyjaciółki pani Swann były mocno przejęte, widząc u niej kobietę, którą sobie wyobrażały jedynie we własnym salonie, w nieodłącznej ramie stałych gości, całej „paczki”, a którą oglądano oto z podziwem usymbolizowaną, streszczoną, zgęszczoną w jednym fotelu, pod postacią „pryncypałki” zmienionej w zwykłego gościa, zawiniętej w płaszcz podbity perkozami, równie puszysty jak białe futra wyścielające ten salon, na którego łonie pani Verdurin sama była salonem. Bojaźliwsze kobiety chciały się przez dyskrecję wymknąć i używając liczby mnogiej, jak wtedy kiedy chcemy dać do zrozumienia drugim, że roztropniej jest nie męczyć rekonwalescentki, która wstaje pierwszy raz, mówiły: „Odeto, już cię pozęgnamy”. Zazdrośczone pani Cottard, którą „pryncypałka”

nazywała po imieniu. „Czy mam cię porwać?” — mówiła do niej pani Verdurin, która nie mogła znieść myśli, aby „wierna” została tutaj, zamiast podążyć za nią.

— Ale... pani Bontemps jest taka łaskawa, że mnie odwiezie — odpowiadała pani Cottard, nie chcąc, aby się wydawało, że dla osoby bardziej sławnej zapomina propozycji pani Bontemps, która ofiarowała się ją odwieźć swoim ministerialnym powozem. — Przyznaję, że jestem osobliwie wdzięczna paniom, gdy są tak dobre, aby mi ofiarować miejsce w swoim wehikule. To prawdziwa gratka dla mnie, która nie rozporządzam automedonem.

— Tym bardziej — odpowiadała „pryncypałka” (nie śmiejąc powiedzieć za wiele, bo знаła trochę panią Bontemps i zaprosiła ją właśnie na swoje środy) — że od pani de Crécy nie jest ci blisko do domu. Och, Boże, nigdy nie nauczę się mówić *pani Swann*. — (Był to żarcik „paczki” na użytek ludzi nieobdarzonych nadmiarem dowcipu, udawać, że nie mogą się nauczyć mówić *pani Swann*). — Tak długo przyzwyczaiłam się mówić *pani de Crécy*, że o mało się znów nie pomyliłam.

Tylko że pani Verdurin, mówiąc do Odety, nie „o mało” się nie myliła, ale myliła się umyślnie.

— Czy ty się nie boisz, Odeto, mieszkać w tym zapadłym kącie? Zdaje mi się, że ja nie czułabym się zanadto bezpieczna, gdyby mi przyszło wracać wieczorem. A przy tym tu taka wilgoć. To nie musi być bardzo zdrowe na egzemplę twojego męża. A nie macie przynajmniej szcurów?

— Ależ nie! Cóż za okropność!

— To chwała Bogu, mówiono mi że są. Bardzo rada jestem, że to nieprawda, bo ja się strasznie boję szcurów i nie pokazałabym się już u ciebie. Do widzenia, kochanie, niezadługo, wiesz, jak zawsze rada jestem cię widzieć. Nie umiesz układać złocieni — mówiła odchodząc, kiedy pani Swann wstawała, aby ją odprowadzić. — To kwiat japoński, trzeba je układać tak jak Japończycy.

— Nie jestem zdania pani Verdurin, mimo że we wszystkim jest dla mnie alfą i omegą. Tylko pani jedna, pani Odeto, umie dobierać taką gamę chryzantem czy chryzantemów, bo zdaje się, że się tak mówi teraz — oświadczyła pani Cottard, skoro „pryncypałka” zamknęła za sobą drzwi.

— Kochana pani Verdurin, nie zawsze jest pobłażliwa dla kwiatów, które widzi u innych — odparła łagodnie pani Swann.

— Kogo ty kultuwujesz, Odeto — pytała pani Cottard, aby nie pozwolić zbyttno się przedłużać krytykom pod adresem pani Verdurin. — Lemaître’a? Wyznaję, że kiedyś na wystawie u Lemaître’a był wielki różowy krzew, dla którego popełniłam szaleństwo.

Ale przez wstydlivość pani Cottard nie chciała podać dokładniejszych szczegółów co do ceny różowego krzewu i powiedziała tylko, że profesor, który zazwyczaj nie jest „kąpany w gorącej wodzie” tym razem „stanął dęba” i oświadczył jej, że nie zna wartości pieniędzy.

— Nie, nie, moim uprzywilejowanym ogrodnikiem jest tylko Debac.

— Moim także — mówiła pani Cottard — ale wyznaję, że go czasem zdradzam z Lachaume’em.

— A, zdradzasz go z Lachaumem, powiem mu to — odparła Odeta, która siłała się na dowcip i starała się trzymać batutę rozmowy u siebie w domu, gdzie czuła się swobodniejsza niż w małej „paczce”. — Zresztą, Lachaume robi się doprawdy za drogi, ceny ma szalone, wiecie, że ja uważam jego ceny za nieobyczajne — dodała śmiejąc się.

## W cieniu zakwitających dziewcząt

## TOM DRUGI

Tymczasem pani Bontemps, która mówiła sto razy, że nie chciałaby być u państwa Verdurin, uszczęśliwiona, że ją zaproszono na środy, obliczała właśnie w duchu, w jaki sposób mogłaby tam być możliwie najczęściej. Nie wiedziała, że pani Verdurin wymaga, aby nie opuścić żadnej środy; z drugiej strony, należała do tych mało poszukiwanych osób, które, kiedy są zaproszone na serię przyjęć do jakiegoś domu, nie idą po prostu wówczas, gdy mają wolną chwilę i ochotę jak ci, co wiedzą, że zawsze zrobią przyjemność. Przeciwnie, takie osoby wyrzekają się na przykład pierwszego i trzeciego wieczoru, wyobrażając sobie, że ich nieobecność zwróci uwagę i zachowując się na drugi i czwarty; chyba że, mając jakieś informacje, iż trzeci „żurek” będzie osobliwie świetny, obiorą odwrotny porządek, utrzymując, że „niestety poprzednim razem nie były wolne”. Tak pani Bontemps obliczała, ile może być jeszcze śród przed Wielkanocą i w jaki sposób mogłaby zyskać jedną więcej, nie robiąc wrażenia, że się narzuca. Liczyła na panią Cottard, że jej w drodze da jakieś wskazówki.

— Och, pani Bontemps, widzę, że pani wstaje, to bardzo nieładnie dawać w ten sposób hasło do ucieczki. Winna mi pani kompensatę za to, że pani nie była w ostatni czwartek... No, niechże pani siada jeszcze na chwilę. Nie odrobi już pani przecie żadnej wizyty przed obiadem. Doprawdy, nie da się pani skusić? — mówiła pani Swann, podsuwając talerz z ciasteczkami. — Wie pani, że to wcale niezłe te świństewka. Niepokażne to, ale niech pani tylko skosztuje!...

— Przeciwnie, to wygląda bardzo kusząco — odpowiadała pani Cottard. — U pani, pani Odeto, nigdy nie grozi śmierć głodowa. Nie potrzebuję pytać o markę fabryczną, wiem, że pani wszystko bierze od Rebatteta. Muszę wyznać, że jestem bardziej eklektyczna. W kwestii ptifurów i w ogóle wszelkich łakoci często zwracam się do Bourbonneux. Ale uznaję, że oni tam nie mają pojęcia, co to są dobre lody. We wszystkim, co tyczy lodów, kremów czy sorbetu, Rebattet to Sztuka przez wielkie „S”. To, jakby powiedział mój mąż, *nec plus ultra*.

— Ale to jest po prostu robione tutaj, w domu. Doprawdy nie?

— Nie mogłabym jeść obiadu — odpowiadała pani Bontemps — ale siadam jeszcze na chwilę, wie pani, ja uwielbiam rozmawiać z osobą inteligentną jak pani.

— Wydam się pani niedyskretna, pani Odeto, ale rada bym wiedzieć, co pani sądzi o kapeluszu pani Trombert. Wiem, że modne są wielkie kapelusze, ale ona już trochę przesadziła. A w porównaniu z kapeluszem, w jakim przyszła kiedyś do mnie, ten dzisiejszy był raczej mikroskopijny.

— Ale nie, ja nie jestem inteligentna — mówiła kokieteryjnie Odeta. — Ja jestem w gruncie naiwne stworzenie, które wierzy we wszystko, co mu ktoś mówi, które bierze sobie do serca wszystko.

I dawała do zrozumienia, że w początkach bardzo cierpiała, wyszedłszy za człowieka takiego jak Swann, który „chodził na boki” i zdradzał ją.

Tymczasem książe d'Agriente, usłyszawszy owo: „nie jestem inteligentna”, czuł się w obowiązku protestować, ale nie miał daru znalezienia się w kropce.

— Tararara! — wykrzyknęła pani Bontemps — pani nieinteligentna!

— W istocie, powiadałem sobie: „Co ja słyszę?” — rzekł książe, chwytając tę deskę ratunku. — Musiały mnie uszy mylić.

— Ależ nie, upewniam was — mówiła Odeta — ja jestem w gruncie mała mieszczałka, bardzo płochliwa, pełna przesądów, żyjąca w swojej norce, a zwłaszcza bardzo ciemna.

— Czy książe widział naszego kochanego baroneta? — dodała, aby zasięgnąć nowin o baronie de Charlus.

— Pani ciemna! — wykrzykiwała pani Bontemps. — W takim razie, co by pani powiedziała o świecie oficjalnym, o wszystkich ekscelencjach, które umieją mówić tylko o szmatkach!... Ot, moja pani, nie dalej niż przed tygodniem ściągam ministrową oświaty na temat *Lohengrina*. Odpowiada: „*Lohengrin*? A tak, to ostatnia rewia w Folies-Bergères, zdaje się, że to szalenie zabawne”. No i co, moja pani, cóż pani chce, kiedy się słyszy takie rzeczy, to się w człowieku gotuje. Miałam ochotę spoliczkować ją. Bo ja, wie pani, ja mam

swój charakterek. No, niech pan powie — rzekła, zwracając się do mnie — czy nie mam racji?

— Wie pani — rzekła pani Cottard — można wybaczyć, że ktoś odpowie niezupełnie trafnie, kiedy go zapytają tak nagle, niespodzianie. Wiem coś o tym, bo pani Verdurin ma zwyczaj przykładać nam tak nóż do gardła.

— *À propos* pani Verdurin — zagadnęła pani Bontemps panią Cottard — czy pani wie, kto tam będzie u niej we środę... A, przypominam sobie teraz, żeśmy przyjęli jakieś zaproszenie na najbliższą środę. Czy nie zechciałaby pani przyjść do nas na obiad od środy za tydzień? Poszłybyśmy razem do pani Verdurin. To mnie onieśmiela tak wchodzić samej; nie wiem czemu, ale ta wielka kobieta zawsze mnie przejmowała strachem.

— Powiem pani — odparła pani Cottard — co panią tak przestrasza u pani Verdurin: to jej organ. Cóż pani chce, nie każdy ma taki piękny organ jak pani Swann. Ale wystarczy zagrzać miejsce, jak mówi „pryncypałka”, a lody niebawem pękną. Bo w gruncie ona jest bardzo ujmująca. Ale rozumiem bardzo dobrze pani sensacje, to nigdy nie jest miło znaleźć się pierwszy raz w nieznannej krainie.

— Mogłaby i pani zjeść obiad z nami — rzekła pani Bontemps do pani Swann. — Po obiedzie puściłybyśmy się razem na Verdurinów, porobić trochę w Verdurinach. Choćby to groziło ryzykiem, że „pryncypałka” wypatrzy się na mnie i nie zaprosi mnie więcej, będziemy tam sobie siedziały, gawędząc we trójkę, czuję, że to by mnie najbardziej bawiło.

Ale twierdzenie to nie musiało być zbyt wiarogodne, bo pani Bontemps wypytywała:

— Jak panie myślicie, kto tam będzie od środy za tydzień? Co się tam będzie działo? Nie będzie chyba tak strasznie dużo ludzi?

— Ja z pewnością nie będę — rzekła Odeta. — Pokażemy się tylko na chwilę na ostatniej środzie. Jeżeli pani nie robi różnicy poczekać...

Ale pani Bontemps nie zdawała się zachwycona perspektywą odroczenia.

Zazwyczaj duchowe zalety jakiegoś salonu a jego elegancja znajdują się do siebie w stosunku raczej odwrotnym. Jednakże — skoro pani Bontemps mogła się wydawać Swannowi miła! — trzeba wierzyć, że wszelka degradacja ma ten skutek, iż czyni człowieka mniej wybrednym co do osób, z którymi zrezygnował się pędzić życie, mniej wybrednym co do dowcipu i co do reszty. I jeżeli to jest prawda, ludzie muszą, jak narody, widzieć, jak ich kultura, język nawet, giną wraz z ich niepodległością. Jednym z objawów tej pobłażliwości jest to, iż powiększa ona upodobanie, jakie, poczawszy od pewnego wieku, znajdujemy w słowach będących hołdem dla naszego sposobu myślenia, dla naszych skłonności, zachętą, aby się im poddać; to ów wiek, w którym sławny artysta nad obcowanie twórczych duchów przekłada towarzystwo uczniów, mających z nim wspólną jedynie jego doktrynę, kadzących mu, słuchających go; wiek, w którym niepospolitemu mężczyźnie lub niepospolitej kobiecie, żyjącym dla miłości, najinteligentniejszą na jakimś zebraniu wyda się osoba może przeciętna, ale dowodząca jakimś słówkiem, iż rozumie i uznaje potrzeby zmysłów, głaszcząc w ten sposób mile ich skłonności. Był to również wiek, w którym Swann, zostawszy mężem Odety, lubił słyszeć z ust pani Bontemps, że śmieszne jest przyjmować same „grandessy” (z czego wyciągał wniosek, na wspak dawnemu Swannowi u Verdurinów, że to jest zacna kobieta, bardzo inteligentna i nie snobka), i lubił opowiadać jej historie, od których pani Bontemps „pękała ze śmiechu”, bo ich nie znała, i które zresztą „chwyciła” szybko, zawsze skłonna do pochlebstw i do zabawy.

— Zatem doktor nie przepada tak jak pani za kwiatami? — pytała pani Swann pani Cottard.

— Och, pani wie, mój mąż to mędrzec, umiarkowany jest we wszystkim. Ale nie, owszem, ma jedną namiętność.

— Jaką, jaką? — pytała pani Bontemps z okiem błyszczącym złośliwością, uciechą i zaciekawieniem.

Z prostotą pani Cottard odparła:

— Lekturę.

— Och, to jest niewinna namiętność u męża! — wykrzyknęła pani Bontemps, dławiąc szatański śmiech.

— Kiedy doktor utonie w książce, oho!

— No, to pani nie musi tak przerażać...

— Ależ owszem!... o jego wzrok. Muszę teraz wracać, pani Odeto, ale najbliższego dnia zapukam do pani wrót. *À propos* wzroku, czy wiecie, że pałacyk, który świeżo kupiła pani Verdurin, będzie oświetlony elektrycznością? Wiem to nie przez moją osobistą policję, ale inną drogą: powiedział mi to sam Mildé, elektrotechnik. Widzicie panie, że cytuję źródła. Nawet w sypialniach będą lampy elektryczne z abażurami dla stonowania światła. To przemiły zbytek, prawda? Zresztą dzisiejsze pokolenie żąda wciąż czegoś nowego, jedna nowość goni drugą. Bratowa jednej z moich przyjaciółek dała u siebie założyć telefon. Może robić sprawunki, nie wychodząc z domu! Przyznaję, że dopuściłam się płaskich intryg, aby na jeden raz uzyskać dostęp do tego aparatu. Bardzo mnie to kusi, ale raczej u przyjaciółki niż u siebie. Zdaje mi się, że nie lubiłabym mieć telefonu w domu. Skoro minie pierwsza zabawa, to musi być prawdziwe urwanie głowy. No, pani Odeto, uciekam, nie zatrzymuj już pani Bontemps, skoro ofiaruje mi gościnę w swoim wehikule; trzeba mi się wyrwać stąd siłą, ładne rzeczy ze mną wyprawiasz, wrócę do domu po mężu!

I ja musiałem wracać, nim zakosztowałem owych zimowych rozkoszy, których lśniąca powłoką zdawały mi się złocienie. Rozkosze te nie przyszły, mimo to pani Swann nie zdawała się już oczekiwać niczego. Pozwoliła służbie sprzątać herbatę, jakby oznajmiała: „Zamykamy”. I w końcu rzekła do mnie: „Więc naprawdę idzie już pan? A więc *good bye!*”. Czulem, że nawet zostawszy dłużej nie spotkałbym owych nieznanych rozkoszy i że nie sam tylko własny mój smutek pozbawia mnie ich. Czyż więc nie znajdują się na tej ubitej drodze godzin, wiodącej zawsze tak szybko do chwili rozstania? Czy raczej spotkałoby się je na jakiejś bocznej dróżce, której nie znałem i w którą trzeba by skręcić? Ale osiągnąłem bodaj cel wizyty. Gilberta będzie wiedziała, że byłam u rodziców w jej nieobecności i że zrobiłem tam, jak nie przestała powtarzać pani Cottard, „szturmem, przebojem, konkię pani Verdurin”, która — dodała żona doktora — nikomu nie zwykła robić „tyle awansów”. „Musi — dodała — istnieć między państwem jakieś powinowactwo z wyboru”. Gilberta dowie się, że mówiłem o niej tak, jak należało, serdecznie, ale że nie jestem niezdolny żyć bez jej widoku, co uważałem za podstawę znudzenia, jakie Gilberta odczuwała przy mnie w ostatnich czasach.

Powiedziałem pani Swann, że nie mogę się już spotykać z Gilbertą. Powiedziałem to tak, jakbym postanowił nie widzieć jej już nigdy. A list, który miałem przesłać Gilbertcie, byłby w tym samym duchu. Ale w myślach, aby sobie dodać odwagi, planowałem jedynie stanowczy i krótki wysiłek kilkudniowy. Powiadałem sobie: „Ostatni raz odrzucam widzenie Gilberty; następnym razem przyjmę”. Aby uczynić rozłąkę łatwiejszą do spełnienia, nie określiłem jej jeszcze jako ostateczną. Ale czulem, że nią będzie.

Nowy Rok był mi tego roku szczególnie bolesny. Gdy się jest nieszczęśliwym, wszystko jest ciężkie, co jest datą i rocznicą. Ale gdy chodzi na przykład o stratę drogiej istoty, cierpienie polega jedynie na żywszym porównaniu z przeszłością. W moim wypadku łączyła się z tym mętna nadzieja, że Gilberta, zostawiwszy mi dotąd inicjatywę pierwszych kroków i stwierdziwszy, że ich nie zrobił, czeka jedynie pretekstu Nowego Roku, aby napisać do mnie tak: „Ostatecznie, o co chodzi, ja szaleję za tobą, przyjdź, rozmówimy się po prostu, nie mogę żyć bez ciebie”...

W ostatnich dniach kończącego się roku list ten wydawał mi się prawdopodobny. Myliłem się może, ale aby w coś uwierzyć, wystarcza pragnąć tego, potrzebować. Żołnierz wierzy, że mu będzie udzielona jakaś nieograniczona zwłoka, nim będzie zabity; złodziej — nim go złapią, wszyscy ludzie — nim umrą. To ów amulet, chroniący jednostki — czasami narody — nie od niebezpieczeństwa, ale od obawy niebezpieczeństwa, w istocie od wiary w niebezpieczeństwo, co w pewnych wypadkach pozwala stawić mu czoło, choćby się nie było szczególnie odważnym. Tego rodzaju ufność — i równie mało uzasadniona — krzepi zakochanego, gdy liczy na pojednanie, na list. Na to, abym nie oczekiwał tego listu, wystarczyłoby przestać go pragnąć. Choćby człowiek wiedział, że jest najobojętniejszy tej, którą jeszcze kocha, przypisuje jej serię myśli — bodaj obojętnych — chęć objawienia ich, komplikacje wewnętrzne, w których on jest przedmiotem może antypatii, ale też ciągłego zainteresowania. Aby, przeciwnie, wyobrazić sobie stan ducha Gilberty, należałoby mi po prostu antycypować w ów Nowy Rok to, co będę od-

Miłość



czuwał tego dnia w przyszłych latach, kiedy pamięć, milczenie, czułość lub chłód Gilberty uszłyby prawie niepostrzeżone moim oczom i kiedy bym nie pomyślał, ani nawet mógł pomyśleć o rozwiązywaniu problemów nieistniejących już dla mnie. Kiedy kochamy, miłość jest za wielka, aby się mogła w nas pomieścić cała; promieniuje ku kochanej osobie, spotyka w niej powierzchnię, która zatrzymuje tę miłość i wysyła ją z powrotem; i to odbicie własnej naszej czułości, nazywamy uczuciem drugiej osoby; ono to czaruje nas więcej, niż kiedy szło ku niej, bo nie poznajemy, że jest z nas samych.

Pierwszy stycznia wydzwonił wszystkie swoje godziny bez jej listu. Że zaś otrzymałem nieco życzeń późnych lub spóźnionych wskutek zatoru poczty w owych dniach, jeszcze trzeciego i czwartego stycznia spodziewałem się wciąż listu Gilberty, ale coraz to mniej. Przez następne dni płakałem dużo. Z pewnością pochodziło to stąd, że wyrzekłszy się Gilberty mniej szczerze, niż sądziłem, zachowałem ową nadzieję listu od niej na Nowy Rok. I wyczerpawszy tę nadzieję, nim miałem czas zaopatrzyć się w drugą, cierpiałem niby chory, który zużył fiolkę morfiny, nie mając pod ręką nowej.

Ale może — i te dwa wykłady nie wykluczają się wzajem, bo jedno uczucie składa się czasami z kilku uczuć sprzecznych — nadzieja, iż otrzymam wreszcie list, zbliżyła do mnie obraz Gilberty, odrodziła dawne wzruszenia płynące z oczekiwania wizyty u niej, z jej widoku, z jej zachowania się. Bezpośrednia możliwość pojednania zabiła tę rzecz, z której ogromu nie zdajemy sobie sprawy — rezygnację. Neurastenicy nie mogą uwierzyć, gdy ich ktoś zapewnia, że się uspokoją stopniowo, pozostając w łóżku bez listów i gazet. Wyobrażają sobie, że ten tryb pogorszy jedynie stan ich nerwów. Podobnie zakochani, oceniając ten środek z perspektywy wręcz przeciwnego stanu, nie podjąwszy próby, nie mogą uwierzyć w dobroczynną moc wyrzeczenia się.

Z powodu zbyt silnego bicia serca zmniejszono mi dawki kofeiny; bicie serca ustąpiło. I zacząłem się zastanawiać, czy to nie z kofeiny po trosze był ów ucisk serca, jakiego doznawałem wówczas, kiedy się prawie poróżnił z Gilbertą i którego każdy nawrót przypisywałem mężarniom rozstania lub obawie, żebym ujrzał Gilbertę tak samo nadąsaną. Ale jeżeli ten narkotyk był źródłem moich cierpień, fałszywie w takim razie tłumaczonych przez moją wyobraźnię (w czym nie byłoby nic niezwykłego, ile że najokrutniejsze cierpienia moralne miewają często u kochanków źródło w fizycznym przyzwyczajeniu do kobiety, z którą żyją), był on niby ów kordiał, który długo po zażyciu wciąż wiązał Tristana do Izoldy. Bo poprawa fizyczna, jaką zmniejszenie dawek kofeiny spowodowało u mnie prawie natychmiast, nie powstrzymała rozwoju zgryzoty, którą niegdyś narkotyk, o ile jej nie wywołał, to bodaj zdołał zaostrzyć.

Ale kiedy nadeszła połowa stycznia, skoro się rozwiły nadzieje noworocznego listu i uśmierzył się ból towarzyszący ukojonemu wreszcie zawodowi, wówczas zaczęła się na nowo moja zgryzota sprzed Świąt. A najokrutniejsze było w niej może to, że ja byłem sam jej nieświadomym, samowolnym, bezlitosnym i cierpliwym twórcą. Ja sam pracowałem nad tym, aby uniemożliwić jedyną rzecz, na której mi zależało, stosunki z Gilbertą, stwarzając pomału, przedłużeniem rozłąki, obojętność nie Gilberty, ale — co miało wyjść w końcu na jedno — swoją własną. Pracowałem zaciekle nad długim i okrutnym samobójstwem tego *siebie*, który we mnie kochał Gilbertę; pracowałem, widząc jasno nie tylko to, co robię w danej chwili, ale co stąd wyniknie na przyszłość. Wiedziałem nie tylko, że za jakiś czas nie będę już kochał Gilberty, ale i to, że ona będzie żałowała tego i że jej ówczesne próby widywania się ze mną będą równie daremne jak dzisiejsze, już nie dlatego żebym ją kochał zanadto, ale że będę z pewnością kochał inną kobietę, upragnioną i oczekiwaną przez godziny, z których nie śmiałbym uronić ani cząsteczki dla Gilberty, będącej mi już wówczas niczym. I z pewnością w tej samej chwili, kiedy (skoro postanowiłem jej nie widzieć, chyba w razie formalnego żądania wyjaśnień, wyznania miłości z jej strony, co nie miało już żadnych widoków) straciłem Gilbertę i kochałem ją tym więcej, czułem, czym ona była dla mnie, lepiej niż w poprzednim roku, kiedy, spędzając z nią do woli wszystkie popołudnia, wierzyłem, że nic nie grozi naszej przyjaźni. I z pewnością w owej chwili myśl, że mógłbym kiedyś odczuwać to samo dla innej, była mi wstrętna; bo ta myśl zabierała mi oprócz Gilberty moją miłość i moje cierpienie. Moją miłość, moje cierpienie, w których z płaczem starałem się uchwycić, czym właściwie jest Gilberta;

i trzeba mi było uznać, że ta miłość i to cierpienie nie są specjalnie jej własnością i że, wcześniej lub później, staną się wianem jakiejś innej kobiety.

W ten sposób — tak myślałem wówczas — uczucia nasze są zawsze niezależne od istot; kiedy kochamy, czujemy, że ta miłość nie nosi ich imienia, że będzie się mogła odrodzić, że byłaby mogła zrodzić się nie dla tej, ale dla innej. I jeżeli w czasie, gdy nie kochamy, godzimy się filozoficznie z tym co jest sprzecznego w miłości, to dlatego, że tej miłości, o której rozprawiamy swobodnie, nie czujemy wówczas, zatem nie znamy jej, ile że znajomość tych spraw jest przerywana i nie trwa poza istotną obecność uczucia.

O tej przyszłości, w której przestałbym już kochać i którą moje cierpienie pomagało mi zgadywać, mimo iż wyobraźnia nie umiała jej jeszcze sobie jasno odtworzyć, z pewnością byłby jeszcze czas uprzedzić Gilbertę; uprzedzić ją, że się ta przyszłość ukształtuje pomału, że jej nadejście, jeżeli nie grozi natychmiast, jest w każdym razie nieuchronne, o ile ona sama nie przyjdzie mi z pomocą i nie zniweczy w zarodku mojej przyszłej obojętności. Ileż razy chciałem już pisać lub iść powiedzieć Gilbertce: „Uważaj, powziąłem postanowienie; krok, który czynię, jest krokiem ostatecznym. Widzę cię ostatni raz. Wkrótce nie będę cię już kochał”.

Na co? Jakim prawem wyrzucałbym Gilbertce obojętność, którą, nie poczuwając się w tym do żadnej winy, żywiłem dla wszystkiego, co nie było nią? Ostatni raz! Mnie się to wydawało czymś olbrzymim, bom kochał Gilbertę. Na niej zrobiłoby to z pewnością tyle wrażenia, co owe listy, w których przyjaciel, opuszczając na zawsze kraj, prosi o widzenie się z nami; i my odmawiamy mu tego spotkania — jak nudnym kobietom, które nas kochają, aby gonić za jakąś przyjemnością. Czas, którym rozporządzamy każdego dnia, jest elastyczny; namiętności, które odczuwamy, rozprzestrzeniają ów czas; te, które budzimy, kurczą go, a przyzwyczajenie wypełnia go.

Zresztą, daremnie bym mówił do Gilberty, nie usłyszałaby mnie. Kiedy mówimy, wyobrażamy sobie zawsze, że to nasze uszy słuchają, że to nasz duch słucha. Moje słowa doszłyby Gilberty skrzywione, tak jakby miały do przebycia ruchomą zasłonę wodospadu; zmienione do niepoznania, śmieszny dźwięk, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Prawda, jaką wkładamy w słowa, nie toruje sobie drogi wprost, nie posiada nieodpartej oczywistości. Musi upłynąć sporo czasu, aby się w nich wykrystalizowała analogiczna prawda. Wówczas polityk, który, mimo wszystkich argumentów i dowodów, uważał przeciwnika politycznego za zdrajcę, dzieli sam zniechęcone przekonania, obojętne już temu, który daremnie starał się je szerzyć. Wówczas arcydzieło, które czytającym je głośno wielbicielom wydawało się czymś bezsprzecznie genialnym, tym zaś, co go słuchali, dawało jedynie niedorzeczny lub mierny obraz, będzie przez nich okrzyknięte arcydziełem — zbyt późno, aby autor mógł się o tym dowiedzieć. Podobne zapory istnieją w miłości i co bądź by czynił ten którego one przywodzą do rozpacz, nie ma sposobu skruszenia ich z zewnątrz; dopiero kiedy już nie będzie dbał o nie, naraz, dzięki pracy pochodzącej z drugiej strony, spełnionej we wnętrzu osoby, która nie kochała, zapory te, zwalczane niegdyś bezskutecznie, padną bez pożytku. Gdybym oznajmił Gilbertce swoją przyszłą obojętność i sposób zapobieżenia jej, wywnioskowałaby z tego, że miłość moja dla niej, że potrzeba jej obecności, są jeszcze większe, niż sądziła, i znudzenie jej moim widokiem jeszcze by od tego wzrosło. I faktem zresztą jest, że to ta miłość, przez rozbieżne stany duszy, jakie kolejno we mnie stwarzała, pomagała mi przewidzieć — lepiej niż to mogła uczynić Gilberta — koniec tej miłości. A jednak skierowałbym może do Gilberty, listownie lub ustnie, takie ostrzeżenie, kiedy by upłynęło dosyć czasu, czyniąc mi ją w istocie mniej nieodzowną, ale też dowodząc jej, że mogę bez niej istnieć. Niestety, pewne osoby, w dobrej lub w złej intencji, mówiły jej o mnie w sposób, który musiał w Gilbertce wywołać wrażenie, że czynią to na moją prośbę. Za każdym razem, kiedy się dowiedział, że Cottard lub moja matka, lub nawet pan de Norpois, unicestwili niezręcznym słowem całe moje męczeństwo, że zniszczyli owoc moich wyrzeczeń, dając mi fałszywie pozór, że się nimi znużył, odczuwałem podwójną przykrość. Po pierwsze, mogłem datować dopiero od tego dnia swoją przykrą i płodną abstynencję, którą intruzi bez mojej wiedzy przerwali i tym samym zanulowali. Po wtóre, mniej znalazłbym obecnie przyjemności w ujrzeniu Gilberty, która wyobrażała mi się teraz nie pełnym godnej rezygnacji, lecz manewrującym pokątnie dla zdobycia spotkania, którego nie raczyła mi udzielić. Przeklinałem puste gadulstwo ludzi, którzy często nawet bez chęci szkodenia lub pomagania, bez celu, po to aby ga-

Czas, Miłość

dać, czasem dlatego, że my sami nie mogliśmy się wstrzymać od gadania w ich obecności i że są niedyskretni (jak my), wyrządzają nam w danym momencie tyle złego. Prawda, iż w oplakany dziele zniweczenia naszej miłości dalecy są od dorównania sprawności dwójga osób, które zwykły, jedna z nadmiaru dobroci, druga z nadmiaru złości, wszystko niszczyć w chwili, gdy wszystko miało się ułożyć. Ale do tych dwóch osób nie mamy żalu jak do niewczesnych Cottardów, bo drugą z nich jest ta, którą kochamy, a pierwszą my sami.

Ale ponieważ za każdym prawie razem, kiedy ją odwiedzałem, pani Swann zapraszała mnie na podwieczorek do córki i mówiła, że bym dał znać Gilbertce wprost, pisywałem często do niej. W tej korespondencji nie dobieierałem słów, jakie mogłyby — jak sądziłem — przekonać Gilbertę: starałem się jedynie utorować najśłodsze łożysko dla płynących łez. Bo żal, jak pragnienie, stara się nie analizować, ale uczynić sobie zadość; gdy zaczynamy kochać, żyjemy nie dociekaniem, czym jest jej miłość, ale obmyślaniem jutrzejszej schadzki. Kiedy się wyrzekamy miłości, nie staramy się objąć swojej zgryzoty, ale objąć ją jej sprawczyni w formie, która nam się wyda najbardziej wzruszająca. Mówimy rzeczy, których mówienia czujemy potrzebę, a których druga strona nie zrozumie, mówimy tylko dla siebie samych. Pisałem: „Sądziłem, że to nie byłoby możliwe. Niestety, widzę, że to nie jest takie trudne”. Mówiłem także: „Prawdopodobnie nie ujrzę cię już”; mówiłem to, w dalszym ciągu wystrzegając się chłodu, który by się mógł Gilbertce wydać sztuczny; i słowa te, kiedy ją pisałem, wyciskały mi łzy, bo czułem, że wyrażają nie to, w co chciałbym wierzyć, ale to, co się stanie naprawdę. Za najbliższą bowiem propozycją spotkania ze strony Gilberty, znalazłbym jeszcze, jak tym razem, odwagę przezwyciężenia się; i tak stale odmawiając, doszedłbym stopniowo do chwili, w której na skutek niewidywania Gilberty, przestałbym pragnąć ją widzieć. Płakałem, ale znajdowałem siłę; poznawałem słodycz wyrzeczenia się widoku Gilberty w imię możliwości podobania się jej kiedyś, w dniu, gdy, niestety, będzie mi to już obojętne. Samo przypuszczenie, choć tak nieprawdopodobne, że w tej chwili (jak to Gilberta utrzymywała podczas ostatniej mojej wizyty) ona mnie kocha; że to, com brał za nudę i przesyt, było jedynie zazdrośną podejrzliwością, udanym chłodem podobnym do mojego własnego — przypuszczenie to czyniło mi decyzję jedynie mniej okrutną. Zdawało mi się wówczas, że za kilka lat, kiedy już zapomnimy o sobie wzajem, kiedy będę mógł retrospektywnie powiedzieć Gilbertce, że list, który do niej pisałem w tej chwili, nie był szczery, ona mi odpowie: „Jak to, pan mnie kochał? Gdyby pan wiedział, jak ja czekałam tego listu, jak marzyłam o ujrzaniu pana, jak oplakałam ten list!”. I podczas gdy pisałem do Gilberty tuż po powrocie od jej matki, ta myśl, że właśnie może dopełniać aktu owego nieporozumienia, ta myśl, przez sam swój smutek, przez słodycz rojenia, że mnie Gilberta kocha, kazała mi pisać dalej.

O ile ja, żegnając się z panią Swann z końcem jej „herbaty”, myślałem o tym, co napiszę do Gilberty, pani Cottard, odchodząc, miała myśli zupełnie odmiennego rodzaju. Robiąc swoją „małą inspekcję”, nie omieszkła powinszować pani Swann jej nowych mebli, świeżych „nabytków” zauważonych w salonie. Mogła zresztą tam odnaleźć, mimo że w niewielkiej ilości, przedmioty, które Odeta miała w swojej willi przy ulicy La Pérouse’a, zwłaszcza zwierzęta z kosztownych materiałów, jej fetysze.

Ale pani Swann, nauczywszy się od jednego z przyjaciół, którego wysoko ceniła, słowa „tandetka” — słowo to otworzyło jej nowe horyzonty, gdyż oznaczało właśnie rzeczy, które kilka lat wprzód wydały jej się „szykiem” — wyprawiała kolejno wszystkie te rzeczy na emeryturę, w ślad za złoconą kratą służącą za oparcie złocieniom, w ślad za niejedną bombonierką od Giroux i papierem listowym z koroną (nie mówiąc już o luidorach z kartonu rozsypanych na kominku, które o wiele jeszcze przed poznaniem Swanna, jakiś wytworny pan poradził jej skasować). Zresztą w jej artystycznym nieładzie, w pracownianym *bric-à-brac*, z pokojów o ścianach jeszcze malowanych ciemno, co je tak bardzo różniło od białych salonów, jakie pani Swann miała mieć nieco później, Daleki Wschód ustępował coraz bardziej inwazji XVIII wieku; poduszki, które, iżby mi było bardziej *confortable*, pani Swann piętrzyła i ugniatała za moim grzbietem, były usiane bukietami *Louis XV*, a nie już, jak dawniej, chińskimi smokami. W pokoju, gdzie zastawało się ją najczęściej i o którym mówiła: „Owszem, dosyć ten pokój lubię, dużo przebywam tutaj; nie mogłabym żyć pośród rzeczy wrogich i banalnych, tu najlepiej mi się pracuje” (nie precyzując zresztą, czy pracuje nad obrazem, może nad książką, ile że gust pisania

zaczynał się pojawiać u kobiet, lubiących coś robić, czymś się zając), Odeta była otoczona cackami *vieux Saxe* (lubiła tę markę porcelany, której nazwę wymawiała z akcentem angielskim, powtarzając przy lada sposobności: to ładne, to podobne do kwiatów *vieux Saxe*), obawiała się dla nich, bardziej jeszcze niż niegdyś dla swoich magotów, niezręcznych rąk lokajów i za lęki, o jakie ją przyprawiali, mściła się wybuchami, którym Swann, ten tak uprzejmy i łagodny pan domu, przyglądał się bez protestu. Jasne widzenie pewnych ujemnych stron nie zmniejsza w niczym tkliwości; przeciwnie, tkliwość sprawia, że się nam wydają urocze.

Obecnie Odeta przyjmowała swoich bliskich rzadziej już w japońskich szlafroczkach, raczej w jasnych i musujących peniuarach Watteau, których kwitnącą pianę pieściła dłonią na piersiach i w których kąpała się, przeciągała, trzepotała z takim poczuciem komfortu, świeżości skóry, z taką pełnią oddechu, jakby je uważała nie za dekorację, ramę, ale za coś niezbędnego, jak „*tub*” i „*footing*”, dla konserwowania swojej fizjonomii i dla wyrafinowań higieny. Chętnie mówiła, że łatwiej obeszlaby się bez chleba niż bez sztuki i czystości, i że bardziej by ją martwiło patrzeć, jak palą *Giocondę* niż „obfitych” osób spośród jej znajomych. Teorie te wydawały się przyjaciółkom Odety paradoksalne, ale sprawiały, że uchodziła w ich oczach za kobietę wyższą i zyskały jej raz na tydzień wizytę ambasadora belgijskiego. W małym świątku, którego Odeta była słońcem, każdy bardzo by się zdziwił, dowiadując się, że gdzie indziej, u Verdurinów na przykład, uchodziła za głupią. Wskutek tej żywości umysłu, pani Swann wołała towarzystwo mężczyzn niż kobiet. Ale kiedy krytykowała kobiety, czyniła to zawsze jak kokota, podkreślając wady zdolne im zaszkodzić w oczach mężczyzn, grube kostki, brzydką cerę, braki ortografii, włosy na nogach, przykry zapach, fałszywe brwi. Dla tych, które jej okazały niegdyś dobroć i pobłażliwość, była czulsza, zwłaszcza jeżeli popadły w nieszczęście. Broniała umiejętnie takiej kobiety, mówiąc: „Świat jest dla niej niesprawiedliwy, to bardzo miła kobietka, ręczę wam”.

Nie tylko urządzenie salonu, ale samą Odetę z trudnością poznałaby pani Cottard oraz wszyscy ci, którzy bywali u pani de Crécy, gdyby jej nie widzieli przez czas dłuższy. Wydawała się o tyle młodsza niż dawniej! Bez wątpienia, pochodziło to po części stąd, że utyla i że była zdrowsza, wyglądała spokojniejsza, świeższa, wypoczęta; z drugiej strony nowe, gładkie uczesanie poszerzało jej twarz, którą ożywiały różowy puder i w którą oczy i profil Odety, niegdyś zbyt wyraziste, zdawały się teraz wsiąkać. Ale inną przyczyną zmiany było to, że doszedłszy szczytowego punktu swego życia, Odeta odkryła w sobie wreszcie — lub wynalazła — fizjonomię osobistą, niezmienny „typ”, „rodzaj piękności” i że swoim nieregularnym rysom — które tak długo, zdane na przygodne i jałowe kaprysy ciała, za lada zmęczeniem przybierając lat, postarzając ją na chwilę, stwarzały poniekąd Odecie, wedle jej humoru i wyglądu, twarz przypadkową, zależną od dnia, nieregularną i uroczą — narzuciła — ten stały typ niby nieśmiertelną młodość.

Zamiast obecnych pięknych fotografii żony, na których wspólny im zagadkowy i zwycięski wyraz pozwalał rozpoznać, bez względu na suknię i kapelusz, tryumfalną twarz i sylwetkę Odety, Swann miał w swoim pokoju mały, stary dagerotyp, bardzo prosty, wcześniejszy od owego dzisiejszego typu. Młodość i piękność Odety, jeszcze przez nią nie znalezione, zdawały się tam nieobecne. Ale zapewne Swann, wierny przeszłości lub do niej nawrócony, smakował bardziej botticellowski wdzięk w szczupłej, młodej kobiecie o zadumanych oczach, o znużonych rysach, w pozie wahającej się między chodem a bezruchem. Lubił w istocie jeszcze widzieć w żonie Botticellego. Odeta, która, przeciwnie, starała się nie wydobyć, ale wyrównać, pokryć to, co się jej w niej samej nie podobało, to, co dla artysty było może jej „typem”, ale co ona jako kobieta uważała za wadę, nie chciała słyszeć o tym malarzu. Swann miał cudowną wschodnią szarfę, błękitno-różową, którą kupił, bo była identyczna z szarfą Madonny z *Magnificat*. Ale pani Swann nie chciała jej nosić. Raz tylko pozwoliła mężowi zamówić tualetę całą usianą stokrociami, bławatkami, niezapominajkami i dzwonekami wedle Primavery. Czasami, wieczorem, kiedy Odeta była zmęczona, Swann zwracał mi po cichu uwagę, jak ona bezwiednie daje swoim zamysłonym ręką subtelną, nieco sztuczny gest Madonny, maczającej pióro w kałamarzu podawanym jej przez anioła, aby pisać w świętej księdze, gdzie już widnieje słowo *Magnificat*. Ale dodawał: „Niech jej tylko pan nic nie mówi; wystarczyłoby jej wiedzieć, aby to zaraz odmieniła”.

Poza tymi chwilami mimowolnej miękkości, w której Swann silił się odnaleźć melancholijny rytm Botticellego, ciało Odety było teraz wycięte niby sylweta całkowicie okolona „linią”, która, aby opisać kontur kobiety, opuściła przygodne drogi, sztuczne wklęsłości i wypukłości, siatki, niespokojne komplikacje dawnej mody, ale która też, tam gdzie akt mylił się, wybiegając w tym lub innym sensie poza idealny wykres, umiała śmiałym ruchem naprostować odchylenia natury, uzupełnić w całych partiach niedomagania zarówno ciała jak materii. Poduszcзки, szkielet okropnej „tiurniury”, znikły, zarówno jak owe staniki z baskinami, które, zachodząc na spódnicę, naciągnięte fiszbinami, długo stwarzały Odecie sztuczny brzuszek, czyniąc ją złożoną z rozmaitych części, niezwiązanych osobowością. Prostota frędzli i krzywizna riuszek ustąpiły miejsca płynności ciała, które pulsowało jedwabiem jak syrena bije falę i dawało perkalinie wyraz ludzki, obecnie, kiedy się to ciało wyłoniło, jako zorganizowany i żywy kształt, z długiego chaosu i z mglistego całunu zdetronizowanych mód.

Jednakże pani Swann chciała i umiała zachować ślad niektórych mód wśród tych, co je zastąpiły. Kiedy wieczorem, nie mogąc pracować i pewien, iż Gilberta jest w teatrze z przyjaciółkami, zaszedłem niespodzianie do jej rodziców, zastawałem często panią Swann w wytwornym dezabilu, którego spódnicę pięknego ciemnego koloru, ciemnoczerwoną albo pomarańczową — kolory zdające się mieć jakieś osobliwe znaczenie, bo były już niemodne — skośnie przecinał ażurowy i szeroki pas czarnej koronki, przypominający dawne wolanty. Kiedy w jakiś chłodny jeszcze wiosenny dzień pani Swann zabrała mnie — przed moim zerwaniem z Gilbertą — do Ogrodu Zoologicznego, wówczas pod żakietem, rozpiętym, o ile się zgrzała od szybkiego chodzenia, wycinane falbany u szmizetki wyglądały niby wyłogi jakiejś nieobecnej kamizelki, podobnej do tych, które pani Swann nosiła kilka lat wprzódy i przy których lubiła te lekkie żąbki. Toż samo krawiat swój — z gatunku „szkockich”, któremu została wierna, ale łagodząc tony (czerwone stało się różowym, a niebieskie lila), tak iż można by prawie myśleć o owych taftach *gorge de pigeon*, stanowiących ostatnią nowość — wiązała pod brodą w taki sposób, że przywodził nieodparcie na myśl aksamitki u kapeluszy, jakich się już nie nosiło. Były tylko umiała tak „przetrwac” jakiś czas, a młodzi ludzie, próbując zrozumieć jej tualety, będą mówili: „Pani Swann, nieprawdaż, to cała epoka?”. Jak w pięknym stylu, skupiającym rozmaite formy, a skrzepionym utajoną tradycją, tak w tualecie pani Swann owe mętne wspomnienia kamizelek, klamer, czasem zdlawiona natychmiast tendencja do „*saute en barque*”, aż do odległej i mglistej aluzji do „*suivez-moi jeune homme*”, pozwalały pod konkretną formą krążyć szczątkowemu podobieństwu innych dawniejszych form, których nie można by tam odnaleźć istotnie zrealizowanych przez krawcową lub modystkę, ale o których myślało się wciąż i które spowijały panią Swann w jakąś szlachetność — może dlatego, że sama bezużyteczność owych ozdób stwarzała im pozór celu ponadużytkowego, może dzięki zachowanym śladom minionych lat lub jakiejś toaletowej indywidualności, właściwej tej kobiecie i dającej najodmienniejszym strojom Odety wspólne rodzinne rysy. Czuło się, że ona się ubiera nie tylko dla wygody lub dla ozdoby ciała; była spowita swoją toaletą niby delikatnym i uduchowionym dostojeństwem cywilizacji.

Kiedy Gilberty, która zazwyczaj urządziła swoje podwieczorki w dniu przyjęć matki, miało nie być w domu i kiedy tym samym mogłem się wybrać do pani Swann, zastawałem ją w którejś z pięknych sukien, czasem taftowej albo *faille*, albo aksamitnej, albo *crêpe de Chine*, albo atlasowej, albo jedwabnej. Suknie owe, już nie puszczane jak szlafroczyki, które zazwyczaj Odetta nosiła w domu, ale obmyślane jakby do wyjścia, dawały w takie popołudnie jej wywczasom coś żywego i czynnego. I bez wątpienia śmiała prostota ich kroju była wybornie dostrojona do figury pani Swann i do jej ruchów, a rękawy były jak gdyby zmieniającym się co dnia kolorem tych ruchów; można by rzec, że jest nagła decyzja w błękitnym aksamicie, łaskawy humor w białej tafcie, i że jakaś ostateczna i dystygnowana rezerwa w sposobie wysuwania ręki, przybrała, aby się ucieleścić, postać czarnej *crêpe de Chine*, błyszczącej uśmiechem wielkich poświęceń. Ale równocześnie owym sukniom — tak żywym — komplikacja ozdób bez praktycznego użytku, bez widocznej racji bytu, przydawała coś bezinteresownego, zamyślnego, sekretnego, harmonizującego z melancholią, jaką pani Swann zachowywała zawsze bodaj w podkrążeniu oczu i w palcach. Pod mnogością *porte-bonheur* z szafiru, czterolistnych koniczyn z emalii, srebrnych medali, złotych medalionów, turkusowych amuletów, rubinowych

łańcuszków, rżniętych topazów, bywał w samej jej sukni jakiś kolorowy deseń, przedłużający na wskrzeszonej wstawce jej dawniejszą egzystencję, jakiś rząd atlasowych guziczków, niezapinających niczego i niedających się odpiąć, jakiś sutasz starający się pogłaskać mile wiernością i dyskrecją delikatnej aluzji... Szczegóły te, tak samo jak klejnoty, robiły wrażenie — inaczej nie miałyby żadnego usprawiedliwienia — iż zdradzając jakąś intencję, są zakładem jakiejś czułości, pamiątką zwierzeń, że odpowiadają jakiemuś zabobonowi, zachowują pamięć jakiegoś wyleczenia, ślubu, miłości lub gry w filipka. I czasami w niebieskim aksamicie stanika cień wypustki *Henri II*, w czarnej atlasowej sukni lekkie wzdęcie, które czy to na rękawach, w pobliżu ramion, kazało myśleć o „*gi-gots*” 1830, czy przeciwnie, pod spódnicą o *paniers* Louis XV, stwarzało sukni nieznaczną pozór kostiumu i przemycając pod obecnym życiem niedostrzegalną reminiscencję przeszłości, dawały osobie pani Swann urok heroin historii lub powieści. Kiedy jej na to zwracałem uwagę, odpowiadała: „Nie gram w golfa, jak wiele moich przyjaciółek. Nie miałabym żadnego usprawiedliwienia, aby się ubierać jak one w swetry”.

W rozgardiaszu salonu, wracając, odprowadziwszy gościa lub biorąc talerz z ciastkami, aby go podać innemu gościowi, pani Swann, przechodząc koło mnie, brała mnie na sekundę na bok: „Mam specjalną misję od Gilberty, aby pana zaprosić na śniadanie pojutrze. Nie będąc pewna, czy pana zobaczę, miałam do pana napisać, w razie gdyby pan dziś nie przyszedł”. Wciąż się opierałem. I ten opór kosztował mnie coraz mniej, bo choćby się lubiło truciznę, która nam szkodzi, kiedy jakaś okoliczność pozbawiła nas jej od jakiegoś czasu, niepodobna nie cenić spoczynku, którego się już nie znało, braku wzruszeń i cierpień. Jeżeli nie jesteśmy zupełnie szczerzy, powiadając sobie, iż nie zechcemy nigdy oglądać tej, którą kochamy, nie byłibyśmy też całkiem szczerzy, mówiąc, iż chcemy ją ujrzeć. Niewątpliwie, możemy znieść rozłąkę jedynie z tą nadzieją, iż będzie krótka, myśląc o dniu, gdy odnajdziemy ukochaną; ale z drugiej strony czujemy, o ile te codzienne marzenia o bliskim i wciąż odkładanym spotkaniu mniej są bolesne, niż byłoby samo widzenie, zdolne znów pociągnąć za sobą zazdrość; tak iż wiadomość, że się znów ujrzy przedmiot ukochania przyniosłaby wzruszenie niezbyt miłe. Odsuwamy teraz z dnia na dzień już nie koniec nieznośnej męki spowodowanej rozłąką, ale niebezpieczny powrót wzruszeń bez wyjścia. O ileż od takiego spotkania wolimy łagodne wspominki, uzupełniane do woli marzeniem, w którym ta, co w rzeczywistości nie kocha nas, oświadcza się nam, przeciwnie, z miłością, gdy jesteśmy sami! Owo wspomnienie, które, wkładając w nie stopniowo wszystko, czego się pragnie, można uczynić tak słodkim, o ileż miłsze jest od odsuwanej wciąż rozmowy z istotą, której nie dyktowalibyśmy już do woli upragnionych słów, zmuszeni, przeciwnie, znosić jej niechęci, kaprysy i burze. Wiemy wszyscy, kiedy już nie kochamy, że niepamięć, nawet mgliste wspomnienie, nie sprawiają tylu cierpień, co nieszczęśliwa miłość. Nie przyznając się do tego przed sobą, wolałem kojącą słodycz takiej antycypowanej niepamięci.

Zresztą, o ile taka kuracja psychicznego oderwania się i izolacji może być przykra, staje się ona coraz to mniej przykra z innej przyczyny. Mianowicie taka kuracja osłabia — zanim ją uleczy ową *idée fixe*, jaką jest miłość. Moja miłość była jeszcze na tyle mocna, aby mi zależało na odzyskaniu w oczach Gilberty dawnego uroku, który dzięki mojemu dobrowolnemu odsunięciu się musiał (tak sądziłem) stopniowo rosnąć, tak iż każdy z tych spokojnych i smutnych dni spędzonych z dala od niej, jednym ciągiem, bez przerwy, bez przedawnienia (o ile jakiś natręt nie wmieszał się do tego), był dniem nie straconym, ale zyskanym. Zyskanym może daremnie, bo rychło można by mnie nazwać wyleczonym. Rezygnacja, odmiana przyzwyczajenia pozwala pewnym siłom wzrastać nieograniczenie. Siły, jakimi rozporządzałem, aby je przeciwstawić swemu cierpieniu, tak wątle pierwszego wieczora po kłótni z Gilbertą, osiągnęły później nieobliczalną potęgę. Tylko że tendencję do trwania, właściwą wszystkiemu, co istnieje, przerywają często nagle impulsy, którym poddajemy się tym łatwiej, bo wiemy, przez ile dni, przez ile miesięcy, mogliśmy i będziemy jeszcze mogli wyrzekać się czegoś. I często — jak skarbonkę z oszczędnościami wypróżnia się nagle, gdy już ma być pełna — przerywamy kurację, nie czekając jej wyniku, wówczas gdyśmy się już do niej przyzwyczaili. I jednego dnia, kiedy pani Swann mówiła mi, jak zwykle, o przyjemności, jaką Gilbertcie sprawiłby mój widok, ujrzałem nagle na odległość ręki szczęście, którego pozbawiałem się tak długo. Wstrząsnęła mnie

myśl, że jeszcze jest możliwe kosztować tego szczęścia. I ledwo mogłem doczekać jutra; postanowiłem zejść do Gilberty niespodzianie, przed jej obiadem.

Pewien projekt pomógł mi przetrwać cierpliwie cały dzień. Skoro wszystko jest zapomniane, kiedy się pogodził z Gilbertą, chciałem ją widywać już tylko w charakterze zakochanego. Codziennie będzie otrzymywała ode mnie najpiękniejsze kwiaty. A gdyby pani Swann, mimo iż nie miała prawa być zbyt surową matką, nie pozwoliła mi co dzień posyłać córce kwiatów, wymyśliłbym podarki kosztowniejsze, a mniej częste. Rodzice nie dawali mi tyle pieniędzy, abym mógł kupować rzeczy drogie. Pomyślałem o wielkim wazonie ze starej chińskiej porcelany, który dostałem po cioci Leonii, a któremu mama przepowiadała co dzień, że dziś czy jutro Franciszka przyjdzie z oznajmieniem: „Rozleciało się”, i że nie zostanie z wazonu nic. W tych warunkach, czyż nie było rozsądniej sprzedać go, aby móc swobodnie dostarczać Gilberte wszystkich przyjemności? Sądziłem, iż zdołam uzyskać za ten wazon tysiąc franków. Kazałem go zawinąć; przyzwyczajenie było przyczyną, że go nigdy nie widział; rozstanie się miało bodaj tę korzyść, że się z nim zapoznał. Zabrałem z sobą wazon, wybierając się do Swannów; podając woźnicy ich adres, kazałem mu jechać przez Pola Elizejskie, stanąć na rogu, gdzie miał sklep wielki handlarz chińszczyzny, znajomy ojca. Ku memu zdumieniu, ofiarował mi z miejsca nie tysiąc, ale dziesięć tysięcy franków. Wziąłem te banknoty z upojeniem: przez cały rok będę mógł co dzień obsypywać Gilbertę różami i bzem! Kiedy wsiałem do dorożki, wychodząc od kupca, woźnica — całkiem naturalnie, skoro Swannowie mieszkali w pobliżu Lasku — pojechał, zamiast zwykłej drogi, aleją Pól Elizejskich. Już minął róg ulicy du Berri, kiedy w zmroku wydało mi się, że bardzo blisko domu Swannów poznaję Gilbertę, ale oddalającą się w przeciwnym kierunku. Szła wolno, mimo że swobodnym krokiem, obok młodego człowieka, z którym rozmawiała, ale którego nie mogłem rozpoznać. Podniosłem się z siedzenia, aby kazać stanąć, potem zawahałem się. Przechadzająca się para była już dość daleko; miękkie i równoległe linie wykreślone ich wolnym posuwaniem się wsiąkały w cień elizejski. Niebawem znalazłem się w domu Gilberty. Przyjęła mnie pani Swann.

— Och, Gilberta będzie w rozpacz — rzekła — nie wiem, jakim cudem nie ma jej. Było jej bardzo gorąco na lekcji, powiedziała, że chce się trochę przejść z koleżanką.

— Mam wrażenie, że ją widział przed chwilą na Polach Elizejskich.

— Nie sądzę, aby to była ona. W każdym razie niech pan nie mówi nic mężowi, on nie lubi, aby Gilberta wychodziła o tej porze. *Good evening.*

Wyszedłem, kazałem woźnicy jechać tą samą drogą, ale nie spotkałem ich. Gdzie byli? Co sobie mówili o zmierzchu, tak poufnie nachyleni?

Wróciłem, trzymając z rozpaczą nieoczekiwane dziesięć tysięcy franków. Miałem dzięki tym pieniądząm zrobić tyle drobnych przyjemności owej Gilberte, której teraz byłem zdecydowany nie ujrzeć już nigdy. Bez wątpienia postój u handlarza chińszczyzny ucieszył mnie, pozwalając mi się spodziewać, że zawsze będę oglądał swoją ukochaną zadowoloną i wdzięczną. Ale gdybym się nie był zatrzymał, gdyby fiakier nie jechał przez Pola Elizejskie, nie byłbym spotkał Gilberty z młodym człowiekiem. Tak więc jeden i ten sam fakt ma dwa przeciwległe konary, a nieszczęście, jakie się z niego rodzi, anuluje szczęście, które sprawił. Zdarzyło mi się coś przeciwnego temu, co się dzieje tak często. Zwykle pragniemy przyjemności, a brak nam materialnych środków do osiągnięcia jej. „Smutno jest — powiada La Bruyere — kochać bez wielkiego majątku”. Pozostaje jedynie starać się unicestwić pomału żądzę tej radości. Ja, przeciwnie, uzyskałem środki materialne, ale równocześnie, jeżeli nie w logicznym skutku, to bodaj w przypadkowym rezultacie tego sukcesu, radość umknęła mi się. Zdaje się zresztą, że zawsze musi się nam wymknąć: zwykle, co prawda, nie tego samego wieczoru, w którym zdobyliśmy to, co umożliwiała przyjemność. Najczęściej szamocemy się dalej i ludzimy się jakiś czas. Ale szczęście nie może się nigdy ziścić. Jeżeli pokonamy okoliczności, natura przenosi walkę z zewnątrz na wewnątrz i odmienia pomału nasze serce na tyle, aby pragnęło czego innego niż to, co posiada. A jeżeli zwrot był tak szybki, że serce nie miało czasu się zmienić, natura nie rezygnuje z chęci zwyciężenia nas w sposób wolniejszy, to prawda, subtelniejszy, ale równie skuteczny. W ostatniej sekundzie odbiera nam wówczas posiadanie szczęścia lub raczej samemu temu posiadaniu z diabelską chytryością natura każe niweczyć szczęście. Nie zdoławszy nic sprawić w sferze faktów i życia, natura stwarza ostatnią niemożliwość,

psychologiczną niemożliwość szczęścia. Fenomen szczęścia nie spełnia się lub wiąże się z najbardziej gorzką reakcją.

Ścisnąłem w dłoni dziesięć tysięcy franków. Ale nie zdały mi się już na nic. Wydałem je zresztą jeszcze szybciej, niż gdybym był co dzień posyłał kwiaty Gilbertcie, bo kiedy nadchodził wieczór, byłem tak nieszczęśliwy, że nie mogłem wytrwać w domu i szedłem płakać w ramionach kobiet, których nie kochałem. Co się tyczy zrobienia jakiegokolwiek przyjemności Gilbertcie, nie pragnąłem już tego; iść teraz do jej domu mogło mi przynieść jedynie ból. Nawet widok Gilberty, jeszcze wczoraj dla mnie tak pełen uroku, nie wystarczyły mi już. Bo byłbym niespokojny przez cały czas, w którym nie byłbym przy niej. Oto, co sprawia, że kobieta, przez każdy nowy ból, jaki nam — często bezwiednie — zadaje, zwiększa swoją władzę nad nami, ale i nasze wymagania od niej. Przez ten ból, jaki nam sprawiła, kobieta osacza nas coraz bardziej, zdwaja nasze łańcuchy, ale również i te, którymi dotąd zdawało się nam wystarczające spętać ją dla naszego spokoju. Jeszcze wczoraj, gdyby nie obawa znudzenia Gilberty, byłbym poprzestał na żądaniu rzadkich spotkań, które teraz nie byłyby mi już wystarczyły i które bym zastąpił zgoła innymi warunkami. Bo w miłości — na wspak temu, co się dzieje po bitwie — im bardziej jesteśmy zwyciężeni, tym cięższe stawiamy warunki, wciąż je powiększamy — o ile je możemy narzucić. Nie miałem tej mocy w stosunku do Gilberty. Toteż wołałem od razu przestać odwiedzać jej matkę. Powtarzałem sobie wprawdzie nadal, że Gilberta mnie nie kocha, że wiem o tym dość dawno, że mógłbym ją zobaczyć, gdybym chciał lub — w odwrotnym wypadku — zapomnieć o niej z czasem. Ale te myśli, niby lekarstwo nieskuteczne na pewne choroby, było bez żadnej mocy przeciw tym dwom równoległym liniom, które jawiły mi się od czasu do czasu, Gilberty i młodego człowieka, gubiących się z wolna w alei Pól Elizejskich. Była to nowa choroba, też mająca się zużyć; obraz, który pewnego dnia miał się przedstawić mojej myśli zupełnie wyługowany z tego, co zawierał zabójczego, jak owe śmiertelne trucizny, którymi manipuluje się bez szkody, lub odrobina dynamitu, od której można zapalić papierosa bez obawy wybuchu.

Na razie była we mnie inna siła, walcząca całą swoją mocą przeciw tej niezdrowej sile, ukazującej mi niezmiennie spacer Gilberty o zmroku; aby złamać ponawiające się ataki mojej pamięci, wyobraźnia moja pracowała skutecznie w przeciwnym kierunku. Niewątpliwie pierwsza z tych dwóch sił wciąż mi ukazywała parę z Pól Elizejskich i nasuwała mi inne przykre obrazy zaczerpnięte z przeszłości; na przykład Gilbertę wzruszającą ramionami, gdy matka kazała jej zostać ze mną. Ale druga siła, haftując na kanwie moich nadziei, rysowała mi przyszłość o wiele powabniejszą niż ta biedna przeszłość, w gruncie tak ograniczona. Na tę jedną minutę Gilberty nadąsanej, ileż minut, w których roilem wszystko, co ona uczyni dla naszego pojednania, może dla naszych zaręczyn! Prawda, że ową siłę, którą wyobraźnia kierowała w przyszłość, czerpała ona mimo wszystko w przeszłości. W miarę jak by się zacierał przykry obraz Gilberty wzruszającej ramionami, zmniejszyłoby się i wspomnienie jej uroku, wspomnienie, które mi kazało pragnąć, aby do mnie wróciła. Ale byłem jeszcze bardzo daleko od tej śmierci przeszłości. Wciąż kochałem Gilbertę, myśląc co prawda, że jej nienawidzę. Ale za każdym razem kiedy chwalono moje uczesanie, mój wygląd, byłbym pragnął, aby ona była przy tym. Drażniły mnie zaproszenia, jakimi w owej epoce darzyło mnie nadaremnie wiele osób. Doszło raz w domu do sceny, bo nie chciałem towarzyszyć ojcu na oficjalny obiad, gdzie mieli być państwo Bontemps z siostrzenicą Albertyną, młodziutką panią, prawie dzieckiem. Różne okresy naszego życia zazębiają się tak o siebie. Dla osoby, którą kochamy, a która będzie nam kiedyś tak obojętna, odsuwamy wzgardliwie tę, którą pokochamy jutro, którą moglibyśmy może, gdybyśmy się zgodzili ujrzeć ją, pokochać wcześniej, i która byłaby w ten sposób skróciła nasze obecne cierpienia, co prawda po to, aby je zastąpić innymi.

Moje cierpienia przeobrażały się stopniowo. Dziwiłem się, spostrzegając w sobie tego dnia jedno uczucie, owego inne, przeważnie natchnione jakąś nadzieją lub obawą tyczącą Gilberty. Gilberty, którą nosiłem w sobie. Byłbym sobie powinien powiedzieć, że inna, prawdziwa, jest może zupełnie różna od tej, obca żalom, jakim jej przypisywałem, że myśli zapewne o mnie nie tylko o wiele mniej niż ja o niej, ale mniej, niż ja jej każę myśleć o mnie, gdy jestem sam na sam ze swoją fikcyjną Gilbertą, dociekając, jakie mogą być



jej prawdziwe intencje i wyobrażając sobie tym samym, że jej uwaga wciąż się kieruje na mnie.

W czasie tych okresów, gdy, mimo iż słabnąc, zgryzota trwa, trzeba rozróżnić między tą, którą sprawia nam ciągła myśl o samej osobie, a tą, którą podsycają pewne wspomnienia, jakieś złośliwe wyrażenie, jakieś słowo użyte w otrzymanym liście. Zachowując sobie na okazję późniejszej miłości opis rozmaitych form zgryzoty, powiedzmy, że z tych dwóch pierwsza jest nieskończenie mniej okrutna od drugiej. Wynika to stąd, że skoro obraz tej osoby wciąż w nas żyje, upiękuszony jest w nas aureolą, w którą nie omieszkamy jej ustroić, i barwi się, o ile nie częstymi słodyczami nadziei, to bodaj spokojem trwałego smutku. (Trzeba zresztą zauważyć, że obraz osoby będącej źródłem naszego cierpienia mało zajmuje miejsca w powikłaniach, które powiększają cierpienie miłosne, przedłużają je i utrudniają uleczenie, jak w pewnych chorobach przyczyna jest w niestosunku do wywołanej gorączki i powolności zdrowienia). Ale jeżeli myśl o kochanej osobie barwi się odblaskiem idei przeważnie optymistycznej, inna rzecz owe konkretne wspomnienia, owe złe słówka, ów wrogi list (dostałem od Gilberty tylko jeden taki); można by rzec, iż sama osoba mieszka w tych fragmentach, mimo iż tak ograniczonych i osiąga moc, od której daleka jest w zwykłym pojęciu, jakie sobie tworzymy o niej całej. A to dlatego, że listu nie oglądaliśmy — jak oglądamy obraz kochanej osoby — w melancholijnym i spokojnym żalu; czytaliśmy go, pochłaniali, w okropnym bólu, jakim dławilo nas nagłe nieszczęście. Tworzenie się takich zgryzot jest inne; płyną z zewnątrz i dochodzą do naszego serca drogą najokrutniejszego cierpienia. Obraz ukochanej, który uważamy za dawny, autentyczny, w rzeczywistości przerabialiśmy wiele razy. Ale okrutne wspomnienie nie jest współczesne z tym wyrestaurowanym obrazem; jest z innego czasu, jest jednym z nielicznych świadków potwornej przeszłości. Że jednak ta przeszłość istnieje nadal, wyjąwszy w nas, którzy podobaliśmy sobie zastąpić ją cudownym wiekiem złotym, rajem, gdzie wszyscy będą pojednani, owe wspomnienia, owe listy, są przywołaniem do rzeczywistości i przez gwałtowny ból, jaki nam sprawiają, powinny by nam uprzytomnić, jak daleko odeszliśmy od tej rzeczywistości w szalonych nadziejach naszego codziennego oczekiwania.

Nie znaczy to, aby ta rzeczywistość miała wciąż zostać jednaka, mimo iż zdarza się to czasem. Jest w naszym życiu wiele kobiet, których nigdy nie staraliśmy się ujrzeć i które, zupełnie naturalnie, na nasze bynajmniej niezamierzone milczenie odpowiedziały podobnym milczeniem. Tylko ponieważ nie kochaliśmy tych kobiet, nie liczyliśmy lat spędzonych z dala od nich; jakoż pomijamy ten negatywny przykład, kiedy rozumiemy o skuteczności odosobnienia, tak jak ci, co wierzą w przeczucia, pomijają wszystkie wypadki, w których się im one nie sprawdziły.

Ale wreszcie oddalenie może być skuteczne. Pragnienie, ochota ujżenia nas odradza się w końcu w sercu, które obecnie nami gardzi. Tylko trzeba na to czasu. Otóż w tym, co się tyczy czasu, wymagania nasze są nie mniej wygórowane niż te, których potrzebuje serce, aby się zmienić. Po pierwsze, czas to jest rzecz, której użyczamy niechętnie, bo nasze cierpienie jest okrutne i pilno nam, aby się skończyło. Następnie, ten czas, którego inne serce będzie potrzebowało, aby się zmienić, nasze zużyje na to, aby się zmienić również, tak iż kiedy cel, któryśmy sobie zakładali, stanie się dostępny, przestanie dla nas być celem. Zresztą, sama myśl o tym, że będzie dostępny, że nie ma szczęścia, które, kiedy przestanie być już dla nas szczęściem, nie byłoby do osiągnięcia, ta myśl zawiera część, ale tylko część prawdy. Przychodzi nam to szczęście, kiedyśmy się stali na nie obojętni. Ale właśnie ta obojętność uczyniła nas mniej wymagającymi i pozwala nam uwierzyć wstecz, że owo szczęście byłoby nas upoiło w epoce, w której może wydałoby się nam bardzo niepełne. Nie jest się zbyt trudnym ani zbyt dobrym sędzią co do rzeczy, o którą się nie dba. Życzliwość osoby już niekochanej może się wydać jeszcze nadmierna naszej obojętności, ale miłości naszej nie wystarczyłaby może wcale. Myślmy o radości, jaką byłyby nam sprawiły jakieś tkliwe słowa, jakaś schadzka, nie zaś o wszystkim tym, czego pragnęlibyśmy zaraz później i co może byśmy udaremnili właśnie przez tę zachłanność. I nie jest wcale pewne, czy owo szczęście zjawiające się zbyt późno, kiedy go już nie możemy kosztować, kiedy już nie kochamy, jest całkiem tym samym szczęściem, którego brak niegdyś nas tak unieszczęśliwił. Jedna tylko osoba mogłaby to rozstrzygnąć, nasze ówczesne ja; i nie ma go już; i z pewnością wystarczyłoby jego powrotu, aby szczęście — tożsame czy nie — pierzchło.

Szczęście, Serce, Przemiana,  
Czas

W oczekiwaniu owych niewczesnych ziszczeń marzenia, na którym nie będzie mi już zależało, tak długo roilem — jak w czasach, gdy zaledwie znał Gilbertę — słowa, listy, gdzie mnie błaga o przebaczenie, wyznaje, iż zawsze kochała tylko mnie i chce zostać moją żoną, iż seria słodkich i wciąż odtwarzanych obrazów zajęła wreszcie w moich myślach więcej miejsca niż wizja Gilberty i młodego człowieka, której nie podsycalo już nic. Z tą chwilą byłbym znów może odwiedził panią Swann, gdyby nie sen, w którym jakiś przyjaciel — ale nie z liczby osób, które znałem — postępował za mną nadzwyczaj fałszywie, przeświadczony wzajem o moim fałszu. Zbudzony nagle cierpieniem, jakie mi sprawił ten sen, i widząc, że trwa, myślałem dalej o nim; starałem się przypomnieć sobie, co to był za przyjaciel, którego widział we śnie i którego hiszpańskie imię już się we mnie zamgliło. Kojąc rolę Józefa i faraona, zacząłem tłumaczyć sobie swój sen. Wiedziałem, że w wielu snach nie trzeba brać w rachubę wygląd osób, które mogą być przebrane i mogły pozamieniać twarze, jak w katedrach owi uszkodzeni święci, których ciemni archeologowie odrestaurowali, kładąc na ciało jednego głowę drugiego oraz mieszając ich właściwości i imiona. Imiona osób we śnie mogą nas zmylić. Osobę, którą kochamy, trzeba poznawać jedynie po sile doznanego bólu. Mój ból pouczył mnie, że (mimo iż zmieniona we śnie w młodego człowieka) osobą, której świeży fałsz sprawiał mi jeszcze ból, była Gilberta. Przypomniałem sobie, że ostatnim razem, kiedy ją widział, wówczas gdy pani Swann nie dała jej iść na tańce, Gilberta — szczerze czy udając, przy czym śmiała się dziwnie — nie chciała uwierzyć w moje dobre uczucia dla niej. Przez asocjację wspomnienie to zbudziło w mojej pamięci inne. Na długo przedtem Swann nie chciał wierzyć ani w moją szczerłość, ani w to, że bym był odpowiednim przyjacielem dla Gilberty. Daremnie pisał do niego, Gilberta odniosła mi mój list i oddała mi go z tym samym zagadkowym śmiechem. Nie oddała mi go zaraz; przypomniałem sobie całą scenę za klombem laurów. Człowiek staje się moralny z chwilą, gdy jest nieszczęśliwy. Obecna niechęć Gilberty wydała mi się niby karą wymierzoną przez życie za moje zachowanie się owego dnia. Człowiek myśli, że unika kary, dlatego że przechodząc przez ulicę uważa na powozy, że unika niebezpieczeństw. Ale istnieją wewnętrzne niebezpieczeństwa. Wypadek przychodzi ze strony, o której się nie myślało, z wewnątrz, z serca. Słowa Gilberty: „Jeżeli chcesz, możemy się jeszcze mocować”, przejęły mnie zgrozą. Wyobraziłem ją sobie taką, u niej w domu może, w garderobie, z młodym człowiekiem, którego widział z nią w alei Pól Elizejskich. Zatem tak samo jak (przed jakimś czasem) byłem szalony, wierząc, że osiadł spokojnie w szczęściu, tak teraz, kiedy wyrzekłem się nadziei szczęścia, byłem szalony, uważając za pewnik, że stałem się bodaj spokojny, że mógłbym pozostać spokojny. Bo dopóki serce trwale zawiera obraz innej istoty, nie tylko nasze szczęście może być w każdej chwili zburzone; kiedy to szczęście prysło, kiedyśmy cierpieli, a potem zdołali uspić swoje cierpienie, spokój nasz jest czymś równie złudnym i niepewnym, jak było nasze szczęście.

Mój spokój wrócił w końcu, co bowiem weszło w naszą duszę w drodze snu, odmieniając nasz stan duchowy i nasze pragnienia, rozprasa się także stopniowo, ile że trwałość i ciągłość nie są dane niczemu, nawet boleści. Zresztą ci, co cierpią z miłości, są — jak się mówi o niektórych chorych — swoim własnym lekarzem. Ponieważ pociecha może im przyjść jedynie od istoty sprawiającej im ból, a ten ból jest emanacją owej istoty, w nim w końcu znajdują lekarstwo. On sam wskazuje im je w danej chwili, w miarę bowiem jak go obracają w sobie, ból ten ukazuje im inną postać straconej osoby, to tak nienawistnej, że nie mamy już nawet ochoty ujrzeć jej, bo zanim byśmy znaleźli przyjemność w jej towarzystwie, trzeba by ją dręczyć; to tak słodkiej, że słodycz, jakiej jej użyjemy, poczytujemy jej za zasługę i czerpiemy w niej nadzieję.

Ale mimo iż odnowione cierpienie uśmierzyło się w końcu, jeżeli zachodził jeszcze do pani Swann, to chyba bardzo rzadko. Bo w tych, którzy kochają i których porzucono, uczucie oczekiwania — nawet bezwiedne — jakim żyją, przeobraża się samo przez się i, mimo iż na pozór tożsame, sprowadza po pierwszym stanie stan drugi, wręcz przeciwny. Pierwszy był następstwem i reflekssem bolesnych wydarzeń, jakie nami wstrząsnęły. Oczekiwanie tego, co mogłoby się wydarzyć, miesza się z lękiem, tym bardziej że w tej chwili, o ile nic nowego nie zajdzie ze strony osoby kochanej, pragniemy działać sami, a nie bardzo wiemy, jaki będzie skutek kroku, po którym niepodobna nam już może będzie podjąć nowego. Ale niebawem — choć sobie z tego nie zdajemy sprawy — nasze

trwale oczekiwanie określa się — jak widzieliśmy — już nie wspomnieniem doznanej przeszłości, ale nadzieją urojonej przyszłości. Z tą chwilą jest ono niemal miłe. Przy tym ów stan przez swoje trwanie przyzwyczaił nas żyć w oczekiwaniu. Cierpienie, jakiegoś doświadczyli w czasie ostatnich widywań się, żyje w nas jeszcze, ale już uśpione. Nie kwapimy się zbyt odnowić go, tym bardziej że nie bardzo widzimy, czego byśmy teraz żądali. Posiadanie czegoś więcej z kobiety, którą kochamy uczyniłoby nam jedynie tym potrzebniejszym to, czego nie posiadamy i czego nie mogliśmy się wyrzec, bo wszelkie zaspokojenie rodzi nową potrzebę.

Wreszcie ostatnia racja przyłączyła się z czasem do tej poprzedniej, aby mnie doprowadzić do całkowitego poniechania wizyt u pani Swann. Racją tą — późniejszą — był nie fakt zapomnienia o Gilbertce, ale chęć prędszego zapomnienia o niej. Bez wątpienia od czasu, jak się skończyło moje wielkie cierpienie, wizyty u pani Swann znów stały się dla resztek mego smutku ukojeniem i dystrakcją, cenną z początku. Ale oba te procesy — ukojenie i dystrakcja — były w sprzeczności z sobą, ile że z tymi wizytami ściśle łączyło się wspomnienie Gilberty. Dystrakcja byłaby mi użyteczna tylko wtedy, gdyby w walkę z uczuciem, niepodsycałym już obecnością Gilberty, wprowadziła myśli, interesy, namiętności, w których Gilberta nie grałaby żadnej roli. Te stany świadomości, którym kochana osoba pozostaje obca, zajmują wówczas miejsce, choćby małe zrazu, ale zdobyte na miłości wypełniającej wprzód całą duszę. Trzeba starać się podsycać, hodować te myśli, podczas gdy wędnie uczucie, będące już tylko wspomnieniem, tak aby wprowadzone w myśl nowe elementy odbierały mu, wydzierały coraz to większą część duszy, aż w końcu wydrą mu ją całą. Zdawałem sobie sprawę, że to jest jedyny sposób zabicia miłości, a byłem jeszcze dość młody, dość dzielny na to, aby podjąć ten zamiar, aby znieść najokrutniejszy z bólów, rodzący się z pewności, że ile bądź czasu trzeba będzie na to obrócić — uda się.

Powód, jakim motywowałem teraz w listach do Gilberty odmowę widywania jej, był aluzją do jakiegoś tajemniczego, najzupełniej fikcyjnego nieporozumienia, które jakoby zaszło między nami i co do którego spodziewałem się zrazu, iż Gilberta zechce je wyjaśnić. Ale faktem jest, iż nigdy, nawet w najbliższych stosunkach, nie żąda wyjaśnień ktoś, kto wie, że jakiś ciemny, kłamliwy, oskarżający zwrot wsunięto umyślnie po to, aby wywołać protesty; przeciwnie, szczęśliwy, iż zyskał przez to przewagę i inicjatywę taktyczną, strzeże tej przewagi. Tym bardziej dzieje się tak w stosunkach tkliwszych, gdzie miłość jest tak wymowna, a obojętność tak mało ciekawa! Skoro Gilberta nie podała w wątpliwość tego nieporozumienia, ani starała się go poznać, stało się ono dla mnie czymś realnym, na co powoływałem się w każdym liście. Są w tych fałszywych sytuacjach, w tym udanym chłodzie jakieś czary, które utrzymują nas w nich. Tak długo pisałem: „Od czasu, jak nasze serca przestały się rozumieć”, po to aby Gilberta odpisała: „Ależ nie przestały, porozumiejmy się”, żem uwierzył, iż przestały się rozumieć w istocie. Powtarzając ciągle: „Życie nasze mogło się zmienić, ale nie zatrze uczuć, jakie nas łączyły”, z żądzą usłyszenia wreszcie: „Ależ nic się nie zmieniło, węzeł jest mocniejszy niż kiedykolwiek”, żyłem w myśli, iż życie zmieniło się w istocie, iż zachowamy pamięć uczucia nieistniejącego już, jak pewni neurastenicy z udanej choroby zostają wreszcie na całe życie chorzy. Teraz za każdym razem, kiedym miał pisać do Gilberty, powoływałem się na ową urojoną zmianę, której fakt, biernie uznany milczeniem Gilberty w jej odpowiedziach, trwał jakoby między nami.

Następnie Gilberta przestała się ograniczać do przemilczania. I ona przejęła mój punkt widzenia; i jak w oficjalnych toastach, gdzie naczelnik państwa będący gościem odpowiada mniej więcej w tych samych słowach, jakich użył naczelnik państwa, które go gości, za każdym razem, kiedym pisał do Gilberty: „Życie mogło nas rozdzielić, ale pamięć czasu, gdyśmy się znali, przetrwa”, ona odpowiadała niezmiennie: „Życie mogło nas rozdzielić, ale nie zdoła zatrzeć w pamięci dobrych chwil, które będą nam zawsze drogą”. I bylibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby nam przyszło powiedzieć, czemu „życie” nas rozdzieliło, co za zmiana zaszła?

Nie cierpiałem już zbyt. Jednakże pewnego dnia, przesyłając Gilbertce wiadomość o śmierci naszej starej straganiarki na Polach Elizejskich, napisawszy te słowa: „Pomyślałem, że ci ta śmierć sprawiła przykrość; we mnie poruszyła ona wiele wspomnień”, nie mogłem się wstrzymać od płaczu, spostrzegając, iż o tej miłości, o której mimo woli nie

przestałem nigdy myśleć jak o czymś żywym, bodaj o czymś mogącym zmartwychwstać, mówię w czasie przeszłym i tak jakby chodziło o zapomnianego już prawie nieboszczyka. Nie można sobie wyobrazić nic tkliwszego niż ta korespondencja między przyjaciółmi, którzy nie chcieli się już widywać. Listy Gilberty miały całą delikatność owych listów, jakim pisywał do osób obojętnych i darzyły mnie tymi samymi pozornymi oznakami przywiązania, tak słodkimi dla mnie, gdy pochodziły od niej.

Stopniowo zresztą każda odmowa widzenia się z Gilbertą sprawiała mi mniej przykrości. I, w miarę jak mi się ona stawała mniej drogą, moje bolesne wspomnienia nie miały już dosyć siły, aby zniszczyć ciągle nawroty przyjemności, z jaką myślałem o Florencji, o Wenecji. Żałowałem w owych chwilach, że się wyrzekłem dyplomacji i że się przykułem do miejsca po to, aby się nie oddalać od dziewczyny, której już nie ujrzę i o której już prawie zapomniałem. Budujemy swoje życie dla jakiejś osoby i kiedy w końcu możemy ją w nim przyjąć, ta osoba nie przychodzi, potem umiera dla nas, i żyjemy uwięzieni w tym, co było przeznaczone tylko dla niej.

O ile Wenecja zdawała się rodzicom bardzo dla mnie daleka i niezdrowa, łatwo w zamian było wybrać się bez znużenia do Balbec. Ale na to trzeba by opuścić Paryż, wyrzec się wizyt, dzięki którym — mimo iż były tak rzadkie — słyszałem niekiedy od pani Swann o Gilbertce. Zaczynałem zresztą znajdować w tych wizytach pewne przyjemności, w których Gilberta nie grała żadnej roli.

Kiedy nadeszła wiosna, sprowadzając zimno, w czasie „świętych lodowych<sup>47</sup>” i przymrozków Wielkiego Tygodnia, pani Swann uważała, że się u niej w domu marznie, toteż zdarzało mi się często zastać ją przyjmującą w futrze. Jej wrażliwe na zimno ręce i ramiona znikaly pod białym i lśniącym dywanem olbrzymiej płaskiej gronostajowej mufki i kołnierza, których nie zdjęła wracając i które wyglądały jak ostatnie płaty zimowego śniegu, trwalsze od innych i niedające się stopić ciepłu ognia ani posuwającej się wiosnie. I salon ten, z którym miałem rozstać się niebawem, sugerował mi całą prawdę owych tygodni lodowatych, ale już kwitnących bardziej upajającymi białościami, na przykład białą buldeneżów<sup>48</sup>, skupiających na szczycie wysokich łodyg, nagich niby linearne krzewy prerafaelitów, swoje pierzaste, lecz zwarte kule, białe jak anioły zwiastowania i spowite cytrynowym zapachem. Bo pani z Tansonville wiedziała, że kwiecień, nawet mroźny, nie jest wyzuty z kwiatów, że zima, wiosna, lato, nie są oddzielone od siebie hermetycznymi przegrodami, jak w to skłonny jest wierzyć bulwarowiec, który do pierwszych gorących dni wyobraża sobie świat jako coś zawierającego same nagie domy na deszczu. Nie twierdzę, aby pani Swann zadowolala się tym, czego jej dostarczał ogrodnik z Combray, i aby przez swoją „nadworną” kwiaciarkę nie wypełniała luk niepełnego obrazu sukursem śródziemnomorskiego klimatu. Było mi to zresztą obojętne. Dla obudzenia we mnie nostalgii wsi wystarczyło, aby obok śniegów mufki, którą trzymała pani Swann, buldeneże (niemające może w intencjach pani domu innego celu, jak stworzyć, za radą Bergotte’a „symfonię *en blanc majeur*” z jej umeblowaniem i toaletą) przypomniały mi, że Ofiara Wielkiego Piątku wyobraża naturalny cud, którego można by być świadkiem corocznie, gdyby się było rozsądniejszym, i aby te buldeneże, wspomagane ostrym i odurzającym zapachem innych kwiatów (których nazw nie znałem, a które tyle razy zatrzymały mnie w czasie moich przechadzek w Combray), czyniły salon pani Swann równie dziewiczym, równie niewinnie kwitającym bez żadnego liścia, równie przepojonym autentycznymi zapachami, co ścieżka w Tansonville.

Ale ta reminiscencja to było jeszcze za wiele. Wspomnienie owej ścieżki groziło tym, że podtrzyma resztkę mojej miłości dla Gilberty. Toteż, mimo że już wcale nie cierpiałem w czasie wizyt u pani Swann, jeszcze zredukowałem je, starając się bywać u niej możliwie najrzadziej. Co najwyżej, ponieważ wciąż nie opuszczałem Paryża, pozwalałem sobie na małe spacery z panią Swann. Piękne dni wróciły wreszcie, gorąco również. Ponieważ wiedziałem, że przed śniadaniem pani Swann wychodzi na godzinę na mały spacer po *avenue du Bois*, w pobliżu *Etoile* oraz miejsca nazywanego wówczas, od ludzi zachodzących tam,

<sup>47</sup>święci lodowi (fr. *Saints de glace*) — w Polsce tzw. zimni ogrodnicy, tj. dni, którym patronują święci: Pankracy (12 maja), Serwacy (13 maja) i Bonifacy (14 maja) oraz Zofia (15 maja), kiedy występuje duże prawdopodobieństwo wiosennych przymrozków (największe między 10 a 17 maja). [przypis edytorski]

<sup>48</sup>buldeneż — śnieguliczka; rodzaj krzewu o białych a. różowych drobnych kwiatach zgrupowanych w kiście oraz białych, drobnych owocach. [przypis edytorski]

aby oglądać bogaczy znanych im tylko z nazwiska, „*Klubem golców*”, wyprosiłem u rodziców, że w niedzielę — bo w powszedni dzień nie byłem o tej godzinie wolny — będę mógł jadać śniadanie aż znacznie po nich, o kwadrans na drugą, przedtem zaś trochę się przejdę. Nie zaniedbałem tego ani razu w ciągu maja, który Gilberta spędziła na wsi u przyjaciółki. Przybywałem pod Łuk Tryumfalny koło dwunastej. Czatowałem u początku alei, nie tracąc z oczu rogu uliczki, którą szła od siebie pani Swann, mając do przebycia ledwie kilkadziesiąt kroków. Ponieważ była to godzina, w której wielu spacerowiczów wracało już na śniadanie, ci, co pozostali, byli mało liczni, przeważnie ludzie ze „świata”. Naraz na piasku alei, spóźniona, powolna i bujna niby najpiękniejszy kwiat otwierający się aż o południu, zjawiała się pani Swann, roztaczając dokoła siebie tualetę zawsze inną, ale zwłaszcza, o ile pamiętam, koloru lila; następnie podnosiła i rozwijała na długiej szypulce jedwabną flagę szerokiej parasolki w tym samym odcieniu co ulistnienie płatków sukni. Otaczała ją cała świta; Swann i kilku klubowców, którzy zaszli do niej rano albo których spotkała; i ich czarna lub szara grupa, spełniająca prawie mechaniczne poruszenia martwej ramy dokoła Odety, dawała tej kobiecie o szczególnie wyrazistym spojrzeniu pozór, że spośród wszystkich tych mężczyzn ona patrzy przed siebie jak z okna, do którego podeszła, wykwitając wąż, ale nieustraszona w nagości swoich delikatnych kolorów, niby zjawa istoty odmiennego rodzaju, nieznaney rasy, o potędze niemal wojowniczej, dzięki czemu sama jedna równoważyła swoją liczną eskortę. Uśmiechnięta, szczęśliwa z pięknej pogody, ze słońca niedokuczającego jeszcze zbytnio, Odeta, ze spokojem i pewnością twórcy, który stworzył swoje dzieło i nie dba o resztę, pewna, że jej toaleta — choćby nawet zwykły przechodzień nie ocenił jej — jest najwytworniejsza ze wszystkich, nosiła ją dla samej siebie i dla swoich przyjaciół, swobodnie, bez przesadnej uwagi, ale i bez zbytej obojętności; nie broniąc kokardkom u sukni i u spódnicy bując lekko przed nią, niby istotom, których obecności jest świadoma i którym pobłażliwie pozwala igrzać, wedle ich własnego rytmu, byle szły za nią. Nawet na swoją umbrellkę lila, którą często przybywając trzymała jeszcze zamkniętą, pani Swann opuszczała chwilami — zarówno jak na bukietik parmeńskich fiołków — spojrzenie szczęśliwe i tak słodkie, że kiedy nie padało już na przyjaciół, ale na martwy przedmiot, jeszcze zdawało się uśmiechać. Określała w ten sposób, zajmowała swoją tualetą ową strefę elegancji, której przestrzeń i konieczność szanowali mężczyźni, nawet najbardziej ośmieleni przyjaźnią pani Swann, nie bez pewnego szacunku profanów i wyznania własnej ignorancji. Była to strefa, w której przyznawali swojej przyjaciółce kompetencję i autorytet, niby choremu w zakresie specjalnych starań, jakich potrzebuje, lub matce w zakresie wychowania dzieci.

Zarówno przez ten dwór, który otaczał ją, zdając się nie widzieć przechodniów, jak przez późną godzinę swego zjawienia się, pani Swann budziła wizję owego apartamentu, gdzie spędziła tak długi poranek i dokąd miała niebawem wrócić na śniadanie; zdradzała niejako jego bliskość niedbałym spokojem swojej przechadzki, takiej prawie, jaką się odbywa, spacerując po własnym ogrodzie; można by rzec, że jeszcze miała dokoła siebie chłodny i zaciszny cień tego mieszkania. Ale przez to właśnie widok Odety tym bardziej dawał mi wrażenie powietrza i ciepła. Zwłaszcza że na skutek mego przeświadczenia, iż mocą obrzędów i liturgii, w jakich pani Swann była tak biegła, toaleta jej łączy się z porą roku i dnia węzłem koniecznym, jedynym — kwiaty jej twardego słomkowego kapelusza, kokardki u sukni zdawały mi się poczęte z miesiąca maja naturalniej jeszcze niż kwiaty ogrodowe i leśne; i aby zaznać młodego wzruszenia wiosny, podnosiłem oczy nie wyżej niż umbrellka pani Swann, otwarta i napięta niby drugie bliższe niebo, okrągłe, łaskawe, ruchome i błękitne. Te obrządki bowiem, mimo iż wszechmocne, kładły swoją chlubę — a tym samym kładła ją w tym pani Swann — w dobrotliwym posłuszeństwie rankowi, wiośnie, słońcu, które nie wydawały mi się dość wzruszone tym, że tak elegancka kobieta raczy ich nie ignorować i że z ich powodu wybrała suknię jaśniejszą i lżejszą, wycięciem szyi i rękawów budzącą myśl o wilgoci karku i dłoni; że rozwinęła dla nich całą uprzejmość wielkiej damy, która, zniżywszy się wesoło do tego, aby odwiedzić na wsi prostych ludzi, znajomych wszystkim, nawet pospółstwu, mimo to zechciała włożyć specjalnie na ten dzień wiejską toaletę.

Skoro się pani Swann zjawiała, klaniałem się jej, zatrzymywała mnie i mówiła z uśmiechem: „*Good morning*”. Szliśmy kawalek razem. I pojmowałem, że jeżeli była posłuszna

owym kanonom, wedle których się ubierała, to dla siebie samej; posłuszna niby wyższej mądrości, której byłaby arcykapłanką: o ile się jej bowiem zdarzyło, że z powodu gorąca rozpięła lub nawet całkiem zdjęła i dała mi do niesienia żakiet, który miał pozostać zapięty, odkrywałem w jej szmizetce tysiące szczegółów mających wszelkie szanse zostać niepostrzeżone, jak owe partie orkiestry, które kompozytor wypieścił z całym staraniem, mimo że nigdy nie mają dojść uszu publiczności; lub też w rękawach żakietu złożonego na moim ramieniu oglądałem długo, dla przyjemności lub przez uprzejmość, jakiś atlasik lila zazwyczaj skryty oczom wszystkich, ale równie delikatnie opracowany jak wierzch, niby owe rzeźby w katedrze gotyckiej ukryte na wewnętrznej stronie balustrady na wysokości osiemdziesięciu stóp, równie doskonale jak płaskorzeźby głównego portalu, ale których nikt nie widział, zanim jakiemuś wędrowcowi-artystyście nie wpadło do głowy przechadzać się tam pod samym niebem, górując nad całym miastem między dwiema wieżami.

Dla ludzi nieznających nawyków „*footingu*” wrażenie, że się pani Swann przechadza po *avenue du Bois* niby po ścieżce własnego ogrodu, pomnażała okoliczność, że Odeta przyszła pieszo, bez jadącego za nią powozu; ona, którą od maja przywykło się widzieć w najstaranniej zaprzężonym ekwipażu, z najlepiej utrzymaną liberią w całym Paryżu, gdy miękko i majestatycznie zasiadała, jak bogini, w ciepłym plenerze olbrzymiej ośmioresorowej wiktorii. Pieszo robiła pani Swann wrażenie — zwłaszcza gdy tak szła leniwo wskutek gorąca — osoby, która uległa ciekawości, chęćce popelnienia jakiegoś eleganckiego wyłomu w etykiecie, jak owi panujący, co, nie poradziwszy się nikogo, wśród zgorzogniego podziwu świty nieważącej się krytykować, opuszczają łożę w czasie galowego przedstawienia i zachodzą do foyer, mieszając się na chwilę z publicznością. Tak więc tłum czuł dzielące go od pani Swann owe bariery bogactwa, robiące wrażenie najbardziej nieprzebytych. Arystokracja ma też swoje, ale mniej przemawiające do oczu i wyobraźni „golców”. W obliczu wielkiej damy, prostszej, łatwiejszej do pomieszenia z mieszczką, mniej oddalonej od ludu, „golcy” nie doznają owego uczucia własnej niższości, prawie upodlenia, jakie mają wobec jakiejś pani Swann. Bez wątpienia, tego rodzaju kobiety nie mają, jak ów tłum, poczucia świetności, która je otacza, nie zwracają już na nią uwagi; ale to dlatego, że się do niej przyzwyczyli, czyli że im się ta świetność wydaje w końcu naturalna, konieczna, że sądzą innych ludzi wedle ich stopnia wtajemniczenia w te misteria zbytku. Dostojność, jakie promieniują same, jakie odkrywają w innych, jest czysto materialne, łatwe do stwierdzenia, długie do nabycia, trudne do zastąpienia. Jeśli te kobiety postawią przechodnia w rzędzie najniższym, to w taki sam sposób, w jaki one same objawiły mu się na szczeblu najwyższym, to znaczy natychmiast, od pierwszego spojrzenia, bez apelacji. Ta specjalna klasa społeczna, posiadająca wówczas kobiety jak lady Israels, wmieszana w sfery arystokracji, i panią Swann, mającą się kiedyś do nich zbliżyć, była czymś pośrednim, niższym od Faubourg Saint-Germain, skoro mu schlebiała, ale wyższym od tego, co jest poza Faubourg Saint-Germain. Już oderwana od światła bogaczy, była jeszcze bogactwem, ale bogactwem, które się stało podatne, posłuszne artystycznemu celowi i myśli; pieniądź klepliwy, poetycznie cyzelowany i umiejący się uśmiechnąć. Może ta klasa, przynajmniej o tym samym typie i uroku, już nie istnieje. Zresztą należące do niej kobiety nie miałyby dziś tego, co było pierwszym warunkiem ich panowania, skoro z wiekiem prawie wszystkie postradały swą piękność. Otóż pani Swann, majestatyczna, uśmiechnięta i dobra, sunąc przez *avenue du Bois*, widziała, jak Hypatia, pod uroczystym krokiem swoich stóp, toczące się światy; a widziała je tyleż ze szczytu swego dostojnego bogactwa, co z chlubnej wyżyny swego żrałego<sup>49</sup> i jeszcze tak smacznego lata. Mijający ją młodzi ludzie patrzyli na nią trwożliwie, niepewni, czy ich luźna znajomość z panią Swann daje im prawo ukłonu, tym bardziej, że będąc ledwie gdzieś raz przedstawieni Swannowi, bali się, że ich nie pozna. I drżąc o skutki, zdecydowali się na to, pytając sami siebie, czy ich zuchwale wyzywający i świętokradzki gest, czyniąc zamach na nietykalną supremację kasty, nie rozpęta katastrof lub nie ściągnie na nich kary jakiego boga. Ale ich ukłon pobudzał jedynie, niby ruch zegara, mechanizm ukłonów podrzędnych osobistości, tworzących światę Odety, poczynając od Swanna, który podnosił swój cylinder z zieloną skórzaną podszewką, z miłym uśmiechem nabytym w Faubourg Saint-Germain, ale z którym nie kojarzyła się już dawniejsza jego obojęt-

<sup>49</sup> *żraly* (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]

ność. Zastępowała ją (tak jakby poniekąd przesiąkł uprzedzeniami Odety) i irytacja, że się musi odklaniać komuś nieszczególnie ubranemu, i zadowolenie, że jego żona ma tylu znajomych; uczucie mieszane, któremu Swann dawał wyraz, mówiąc do towarzyszących mu elegantów: „Jeszcze jeden! Daję słowo, nie wiem, gdzie Odeta łowi ich wszystkich!”. Tymczasem, odpowiedziawszy skinieniem głowy wystraszonemu przechodniowi, który już znikł, ale któremu serce biło jeszcze, pani Swann zwracała się do mnie:

— Zatem — mówiła — to skończone? Nie zajdzie pan już nigdy do Gilberty? Jestem rada, że choć ja stanowię wyjątek i że mnie pan nie „splawił” całkowicie. Lubię pana widzieć, ale lubiłam też wpływ, jaki pan miał na moją córkę. Sądzę, że i ona tego bardzo żałuje. Ostatecznie, nie będę pana tyranizowała, bo gotów by pan i mnie nie chciał widzieć na oczy!

— Odeto, Sagan ci się kłania — zwracał jej uwagę Swann.

I w istocie, książę de Sagan, zwróciwszy frontem konia, we wspaniałej apoteozie, godnej teatru, cyrku lub starego obrazu, składał Odecie szeroki, teatralny i jakby alegoryczny ukłon, w którym piętrzyła się cała rycerska dworność wielkiego pana składającego hołd Kobiecie, choćby wcielonej w kobietę, jakiej jego siostra lub matka nie mogłyby przyjmować. Co chwila zresztą, poznawana w płynnej przezroczystości i świetnym werniksie cienia, jaki lała na nią umbrelka, pani Swann przyjmowała ukłony zapóźnionych jeźdźców, jakby skinematografowanych w galopie w białym rozświeceniu alei, klubowców, których imiona, sławne dla publiczności — Antoine de Castellane, Adalbert de Montmorency i tylu innych — były dla pani Swann poufałymi imionami przyjaciół. I ponieważ przeciętne trwanie życia — względna długowieczność — o wiele dłuższe jest dla wspomnienia poetyckich wrażeń niż dla wspomnienia ran serca, dawno minione męki, jakim cierpiał wówczas dla Gilberty, przeżyła przyjemność, jaką odczuwam za każdym razem, kiedy zechcę czytać, niby na urojonym kompasie, minuty upływające między kwadrantem na pierwszą a pierwszą, w maju, odnajdując się w ten sposób w rozmowie z panią Swann, pod jej umbrelką<sup>50</sup>, niby w cieniu szpaleru glicynii.

\*

Doszedłem do zupełnej prawie obojętności w stosunku do Gilberty, kiedy w dwa lata później wybrałem się z babką do Balbec. Kiedym ulegał czarowi nowej twarzy, kiedym się spodziewał przy pomocy innej młodej dziewczyny poznawać gotyckie katedry, pałace i ogrody Italii, powiadałem sobie smutno, że nasza miłość, jako miłość pewnej istoty, nie jest może czymś zbyt realnym, skoro skojarzenia przyjemnych lub bolesnych marzeń mogą ją związać na jakiś czas z pewną kobietą, tak iż budzą w nas wiarę, że miłość była przez nią nieodzownie natchniona, jak znowuż, jeśli się dobrowolnie lub bezwiednie wyzwolimy z tych skojarzeń, miłość ta, przeciwnie, tak jakby była samorodna i poczęta z nas samych, odradza się, aby się poświęcić innej kobiecie. Jednakże, w chwili tego wyjazdu i przez pierwszy czas pobytu, obojętność moja była dopiero okresowa. Życie nasze jest tak mało chronologiczne, tyle wprowadza anachronizmów w porządek dni! Często żyłem w epoce dawniejszej niż wczoraj lub przedwczoraj, kiedym kochał Gilbertę. Wówczas nie widzieć jej już stawało mi się nagle bolesne, tak jak byłoby bolesne w owej dobie. Owo *ja*, które ją kochało, zastąpione już prawie całkowicie innym *ja*, zmartwychwstawało, przy czym o wiele częściej wracała mi je jakaś rzecz błaha niż rzecz ważna. Na przykład — antycypuję tu pobyt w Normandii — słyszałem w Balbec, jak nieznanomy jakiś, mijając mnie na drodze, mówił: „Rodzina dyrektora ministerstwa poczty...”. Nie wiedziałem wówczas, jaki wpływ owa rodzina będzie kiedyś miała na moje życie, toteż słowa te powinny były być mi obojętne; otóż sprawiły mi żywy ból, ból rozłąki z Gilbertą, którego doznawało owo *ja* w znacznej części zamarłe we mnie od dawna. Bo nigdy jeszcze nie wróciłem myślą do pewnej rozmowy, jaką Gilberta miała przy mnie z ojcem, na temat rodziny „dyrektora ministerstwa poczty”. Otóż wspomnienia miłosne nie stanowią wyjątku w ogólnych prawach pamięci, rządzonych znowuż powszechnymi prawami przyzwyczajenia. Ponieważ nawyk osłabia wszystko, najlepiej przypomina nam jakąś istotę to, cośmy zapomnieli (dlatego że to coś było nieznaczące i żeśmy mu w ten

Miłość, Pamięć,  
Wspomnienia

<sup>50</sup>umbrelka — parasolka. [przypis edytorski]

sposób zostawili całą jego siłę). I dlatego najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu wiatru, w zaduchu pokoju lub w zapachu pierwszego ognia na kominku, wszędzie, gdzie odnajdujemy z samych siebie to, czym nasz intelekt, nie mogąc tego spożytkować, wzgardził; ostatnią rezerwę przeszłości, najlepszą, tę, która, kiedy wszystkie nasze lzy zdają się wyschłe, umie nam je jeszcze wycisnąć. Poza nami? W nas, aby lepiej rzec, ale ukryta własnym naszym spojrzeniem, w mniej lub więcej długim zapomnieniu. Jedynie dzięki owemu zapomnieniu możemy od czasu do czasu odnaleźć istotę, którąśmy byli, spojrzeć na rzeczy tak, jak patrzyła owa istota, na nowo cierpieć, bo nie jesteśmy już sobą, ale nią, i bo ona kochała to, co nam jest teraz obojętne. W pełnym świetle zwyczajnej pamięci obrazy przeszłości bledną pomału, zacierają się, nie zostaje z nich już nic, nie odnajdziemy ich już. Lub raczej nie odnaleźlibyśmy ich, gdyby jakieś słowa (jak „dyrektor ministerstwa poczty”) nie były starannie przechowane w zapomnieniu, tak jak się składa w Bibliotece Narodowej egzemplarz książki, bez tego narażonej na całkowitą zagładę.

Ale to cierpienie i ten nawrót miłości były tym razem nie dłuższe niż te, które nawiązują nas we śnie, bo w Balbec nie było dawnego Przyzwyczajenia, aby je utrwalić. A jeżeli skutki Przyzwyczajenia wydają się sprzeczne, to dlatego, że podlega ono różnorakim prawom. W Paryżu stałem się coraz obojętniejszy na Gilbertę, dzięki Przyzwyczajeniu. Zmiana nawyku, to znaczy chwilowe ustanie Przyzwyczajenia, dokończyła dzieła Przyzwyczajenia, kiedym wyjechał do Balbec. Ono osłabia, ale utrwała; sprowadza rozpad, ale daje mu trwać nieograniczenie. Każdego dnia, od lat, kopiowałem, jak mogłem, swój stan duszy z podobnego stanu w dniu poprzednim. W Balbec nowe łóżko, do którego przynoszono mi rano pierwsze śniadanie, odmienne od paryskiego, nie miało już podsycać myśli, jakimi się karmiła moja miłość do Gilberty. Są wypadki (dość rzadkie co prawda), gdy najlepszym sposobem zyskania na czasie jest zmienić miejsce, podczas gdy tkwienie w miejscu unieruchamia dni. Moja podróż do Balbec była jakby pierwszym wyjściem rekonwalescenta, który oczekiwał już tylko tego wyjścia, aby spostrzec, że jest uleczony.

Tę podróż odbyłoby się z pewnością dziś samochodem, sądząc, że tak będzie przyjemniejsza. Ujrzymy, iż odbyta w ten sposób byłaby nawet w pewnym sensie prawdziwsza, gdyż śledziłoby się bardziej z bliska, poufniej stopniowania, wedle których zmienia się powierzchnia ziemi. Ale ostatecznie, swoistą przyjemność podróży stanowi nie to, aby móc wysiadać w drodze i zatrzymywać się, kiedy się jest zmęczonym; chodzi o to, aby różnicę między wyjazdem a przybyciem uczynić nie tak nieznaczną, ale tak głęboką jak tylko się da; aby ją odczuć w jej całkowitości, nietkniętą, taką, jak była w naszej myśli, kiedy ze stałego miejsca naszego pobytu wyobraźnia niosła nas w samo serce miejsca upragnionego. Ten skok wydaje się cudowny nie tyle przez to, że przebywa odległość, ile przez to, że łączy dwie różne indywidualności ziemi, że nas przenosi od jednej nazwy do innej; a schematyzuje go (lepiej niż spacer, w czasie którego, skoro wysiadamy, gdzie chcemy, nie ma właściwie przybycia na miejsce) tajemnicze zjawisko, spełniające się w owych specjalnych miejscach, dworcach kolei, które nie stanowią, aby tak rzec, części miasta, ale zawierają esencję samej jego osobowości, tak jak na tablicy noszą jego miano.

Ale w każdej dziedzinie nasza epoka ma tę manię, aby chcieć pokazywać rzeczy jedynie w ich prawdziwym otoczeniu, a tym samym niszczyć to, co istotne, akt ducha, który je z owej rzeczywistości wyosobnił. Obraz podają nam w oprawie mebli, bibelotów, cacek, obić z jego epoki — mdła dekoracja, w której komponowaniu celuje w dzisiejszych pałacach gospodyni domu, wczoraj jeszcze głęboko ciemna, dziś spędzająca dnie w archiwach i bibliotekach. W takiej dekoracji arcydzieło, które oglądamy, jedząc przy tym obiad, nie daje nam owej upajającej radości, dostępnej jedynie w sali muzealnej, która, nagością swoją i wycuciem ze wszystkich realnych szczegółów, o wiele lepiej symbolizuje przestrzenie ducha, w jakie artysta schronił się, aby stworzyć.

Na nieszczęście, owe cudowne miejsca, jakimi są dworce kolejowe, skąd puszczamy się ku odległym przeznaczeniom, są także miejscami tragicznymi, o ile bowiem spełnia się tam cud, dzięki któremu kraina istniejąca wprzód jedynie w naszej myśli stanie się miejscem, gdzie będziemy żyli, nie trzeba się tym samym spodziewać, aby tuż na wyjściu z poczekalni natychmiast odnaleźć codzienny pokój, gdzie się było jeszcze przed chwilą. Trzeba porzucić wszelką nadzieję spania wieczorem u siebie, gdyżśmy się raz zdecydowali

Podróż, Przestrzeń



wstąpić w zapowietrzoną jaskinię wiodącą nas do tajemnicy, jak dworzec Saint-Lazare, gdzie miałem wsiąść na pociąg do Balbec, a którego wielka, oszklona hala rozciągała nad rozprutym miastem niebo surowe i brzemienne spiętrzonymi groźbami dramatu, podobne do niektórych nieb o nowoczesności niemal paryskiej, Mantegny lub Veronese — niebo, pod którym mógł się spełnić jedynie jakiś akt straszliwy i uroczysty, jak odjazd koleją żelazną albo Wzniesienie Krzyża.

Jak długo zadowalałem się oglądaniem ze swego łóżka w Paryżu perskiego kościoła w Balbec pośród smugi burz, ciało moje nie zakładało żadnego sprzeciwu wobec tej podróży. Protesty zaczęły się dopiero wówczas, kiedy ciało zrozumiało, że ma w tym brać udział i że w dniu przyjazdu zaprowadzą mnie do „mojego” pokoju, który jemu, memu ciału, będzie obcy. Bunt jego był tym głębszy, ile że w samą wilię wyjazdu dowiedziałem się, że matka nie będzie nam towarzyszyła, bo ojciec, zatrzymany w ministerstwie do chwili, gdy miał jechać do Hiszpanii z panem de Norpois, wołał wynająć domek w okolicach Paryża. Zresztą kontemplacja Balbec nie wydała mi się mniej upragniona przez to, że trzeba ją było kupować ceną cierpienia; przeciwnie, cierpienie to zdawało mi się gwarantować rzeczywistość spodziewanych wrażeń, niedających się zastąpić żadnym widowiskiem ofiarowanym mi jako rzekomy ekwiwalent, żadną „panoramą”, którą poszedłszy oglądać, mógłbym wrócić wieczorem spać w swoim łóżku. Nie pierwszy to raz uczułem, że zdolność kochania i zdolność odczuwania przyjemności rzadko schodzą się w jednej i tej samej osobie. Sądziłem, że pragnę Balbec równie gorąco jak doktor, który mnie leczył i który rzekł, dziwiąc się w dzień wyjazdu mojej nieszczęśliwej minie: „Ręczę panu, że gdybym mógł się tylko wyrwać na tydzień, aby odetchnąć morskim powietrzem, nie dałbym się prosić. Będzie pan miał wyścigi, regaty, same rozkosze”. Ale ja już poznałem, i to nawet o wiele przed ujrzeniem Bermy, że czymkolwiek byłaby rzecz, jaką bym kochał, będzie ona zawsze jedynie kresem bolesnego pościgu, w którym trzeba mi będzie przede wszystkim poświęcić swoją przyjemność temu najwyższemu dobru, zamiast jej w nim szukać.

Babka pojmowała oczywiście nasz wyjazd w sposób nieco specjalny. Wciąż tak samo jak niegdyś, pragnąc dać podarkom, jakie otrzymywałem, cechę arcyzmu, chciała mi ofiarować bodaj w części starą „odbitkę” tej podróży; tak abyśmy ją odbyli na wpół koleją, na wpół końmi, odtwarzając szlak podróży pani de Sévigné z Paryża ku „l’Orient” przez Chaulnes i przez „Pont-Audemer”. Ale musiała się wyrzec tego projektu wskutek zakazu ojca, który wiedział — kiedy babka organizuje jakąś podróż tak, aby z niej wycisnąć możliwie pełną korzyść intelektualną — ile można się spodziewać chybionych pociągów, zagubionych bagażów, chorób gardła i kar za naruszenie przepisów. Babka cieszyła się bodaj na myśl, że nigdy, wybierając się na plażę, nie będziemy narażeni na uprzykrzone i niewczesne zjawienie się tego, co jej ukochana Sévigné nazywała „szelmą karetą”: nie będziemy nikogo znali w Balbec, bo Legrandin nie ofiarował nam się z listem polecającym do siostry. (Abstynencję tę inaczej oceniły moje ciotki, Celina i Wiktoria. Znając od dziecka tę, którą dotąd, dla zaznaczenia dawnej zażyłości, nazywały Renią de Cambremer, i posiadając jeszcze od niej owe podarki, przechowywane w pokoju i w konwersacji, ale niemające już żadnego związku z obecną rzeczywistością, sądziły, iż pomszczą nasz afront, nie wymawiając już nigdy u starej pani Legrandin imienia jej córki. I skoro się znalazły za drzwiami, winszowały sobie wzajem aluzjami w tym rodzaju: „Nie pisałam ani słówka o tej osobie, co wiesz”, „Sądzę że mnie zrozumiano”).

Zatem mieliśmy jechać po prostu z Paryża owym pociągiem *pierwsza dwadzieścia dwie*. Zbyt długo lubiłem szukać tego pociągu w rozkładzie jazdy, gdzie mi za każdym razem dawał wzruszenie, prawie błogosławione złudzenie wyjazdu, abym sobie mógł nie wyobrażać, że go znam. Ponieważ określenie w naszej wyobraźni rysów jakiegoś szczęścia raczej zależy od tożsamości pragnień, jakie w nas ono budzi, niż od ścisłości wiedzy naszej o nim, sądziłem, że znam to szczęście we wszystkich jego szczegółach; nie wątpiłem, że doznam w wagonie specjalnej przyjemności, kiedy dzień zacznie się mieć ku schyłkowi; że będę oglądał taki a taki efekt zbliżając się do pewnej stacji; tak iż ten pociąg, budzący wciąż we mnie obrazy tych samych miast, spowijanych w światło owych popołudniowych godzin, zdawał mi się odmienny od wszystkich innych pociągów; i w końcu — jak często robimy z istotą, której nigdyśmy nie widzieli, ale o której przyjaźni lubimy roić — dałem swoistą i niezmienną fizjognomię temu jasnowłosemu podróżnemu-artystycie,

który by mnie zabrał po drodze i z którym pożegnałbym się u stóp katedry Saint-Lô, zanim by się oddalił w stronę zachodu.

Ponieważ babka nie mogła się zdecydować na to, aby jechać „tak sobie, po prostu” do Balbec, miała się zatrzymać dobę u jakiejś przyjaciółki. Ja miałem wyjechać stamtąd tego samego wieczoru, aby nie robić kłopotu, a także aby ujrzeć nazajutrz w ciągu dnia kościół w Balbec. Kościół — jak się dowiedzieliśmy — był dosyć daleko od plaży, tak że nie mógłbym się tam wybrać w początkach kuracji. I może było mi lżej z uczuciem, iż wspinały przedmiot mojej podróży mieści się przed ową okrutną pierwszą nocą, gdy miałem wstąpić w nowe mieszkanie i zgodzić się w nim żyć. Ale trzeba było najpierw opuścić dawne; matka urządziła się tak, aby się zainstalować tego samego dnia w Saint-Cloud, gdzie wydała (lub udała, że to uczyniła) wszystkie dyspozycje, aby tam pospieszyć wprost po odwiezieniu nas na dworzec, nie wstępując do domu. Bała się, abym nie zechciał z nią wrócić, zamiast jechać do Balbec. A nawet, pod pozorem że ma dużo do roboty na nowym mieszkaniu i że ma mało czasu (a w istocie, aby mi oszczędzić okrucieństwa pożegnań), postanowiła nie doczekać z nami odejścia pociągu, momentu gdy rozłąka, przesłonią wprzód krzątaniem i nieobowiązującymi jeszcze definitywnie przygotowaniami, objawia się nagle, niemożliwa do zniesienia, wówczas gdy jej już niepodobna uniknąć, skupiona całkowicie w olbrzymiej chwili bezsilnej i ostatecznej świadomości.

Pierwszy raz czułem, że możliwe jest, aby matka żyła beze mnie, inaczej niż dla mnie, innym życiem. Miała mieszkać oddzielnie z ojcem, uważając może, że moje słabe zdrowie, moja nerwowość czynią ojcu życie dość uciążliwym i smutnym. Ta rozłąka zasmuciła mnie tym bardziej, bo powiadałem sobie, że jest ona prawdopodobnie dla matki kresem kolejnych zawodów, jakie jej sprawiłem; zawodów, które przede mną tała, a po których zrozumiała trudność wspólnych wakacji. Może była to dla niej i pierwsza próba egzystencji, z jaką zaczynała się godzić na przyszłość, w miarę jak lata będą płynęły dla ojca i dla niej, egzystencji, w której będę ją widywał mniej, kiedy — czego nie dopuszczałem nawet w koszmarach snu — byłaby już dla mnie trochę obcą panią, która wraca sama do domu, gdzie mnie nie będzie, pytając odźwiernego, czy nie ma ode mnie listu.

Zaledwie zdołałem odpowiedzieć coś bagażowemu biorącemu mój kuferek. Chcąc mnie pocieszyć, matka próbowała sposobów, które się jej zdawały najskuteczniejsze. Uważała za bezcelowe udawać, że nie widzi mojej zgryzoty, żartowała z niej łagodnie:

— No i co, co by powiedział kościół w Balbec, gdyby wiedział, że z taką nieszczęśliwą miną gotujemy się go obejrzeć? Czy to jest ten olśniony podróżny, o którym mówi Ruskin? Zresztą dowiem się, czyś się znalazł na wysokości zadania, nawet z daleka będę jeszcze ze swoim kociakiem. Dostaniesz jutro list od swojej mamusi.

— Moje dziecko — rzekła babka — widzę cię jak panią de Sévigné, z oczami wlepionymi w mapę i nieopuszczającą nas ani na chwilę.

Potem mama starała się mnie rozerwać, pytała, co zamówię na obiad, podziwiała Franciszkę, komplementowała ją za kapelusz i płaszcz, których nie poznawała, mimo że niegdyś budziły jej zgrozę, kiedy je widziała jeszcze nowe na ciotce; kapelusz z ogromnym, sterczącym ptakiem, płaszcz oszepony straszliwym deseniem i dżetami. Ale ponieważ płaszcz był zniszczony, Franciszka dała go przenicować i wydobyła na wierzch drugą stronę, gładką i w miłym tonie. Co się tyczy ptaka, od dawna już połamany, poszedł na śmietnik. I tak samo, jak czasem wzrusza nas spotkanie subtelności, na które siłą się najświadomszy artyści, w ludowej piosence, na fasadzie jakiegoś chłopskiego domu, gdzie kwitnie nad wrotami biała lub żółta róża właśnie w miejscu, gdzie było trzeba — tak samo Franciszka z naiwnym i niezawodnym smakiem umocowała na swoim kapeluszu, który się zrobił śliczny, aksamitną wstążkę i węzeł, zdolne zachwycić nas na jakim portrecie Chardina lub Whistlera.

Skromność i uczciwość, dające często coś szlachetnego twarzy naszej starej służącej, udzieliły się strojowi, który — jako osoba dyskretna bez uniżoności, umiejąca zachować właściwe miejsce — przywdziała na tę podróż, aby być dla nas godną towarzyszką, nie robiąc wrażenia, że chce zwrócić na siebie uwagę. Tak iż — aby sięgnąć w dawniejsze czasy — w wiśniowym, ale spłowiałym suknie swego płaszcza oraz w miękkim włosie futrzanego kołnierza, Franciszka przywodziła na myśl jakiś portret Anny Bretońskiej, malowany w modlitewniku przez starego mistrza, gdzie poczucie harmonii rozlane jest

we wszystkich partiach tak równo, że bogata i niemodna oryginalność stroju wyraża tę samą nabożną powagę, co oczy, wargi i ręce.

Nie można by mówić o myśli w związku z Franciszką. Nie wiedziała ona nic, w tym ogólnym sensie, w jakim „nie wiedzieć nic” równa się nie rozumieć nic, poza rzadkimi prawdami, które serce zdolne jest ogarnąć wprost. Olbrzymi świat idei nie istniał dla niej. Ale wobec jasności jej spojrzenia, wobec delikatnych linii tego nosa, tych warg, wobec wszystkich tych oznak nieobecnych u tyłu osób kulturalnych, u których wyrażałyby najwyższą dystynkcję, szlachetną bezinteresowność wybranej duszy, człowiek czuł się zmieszany, jak wobec inteligentnego i dobrego spojrzenia psa, któremu, jak wiadomo, obce są wszystkie pojęcia ludzkie. I nasuwało się pytanie, czy między tymi naszymi skromnymi braćmi, wieśniakami, nie ma istot wyższych niejako pośród świata ubogich duchem lub raczej istot, które, skazane przez niesprawiedliwy los na życie między ubogimi duchem, pozbawione światła, a mimo to naturalniej, istotniej spokrewnione z wybranymi naturami niż bywają przeważnie ludzie wykształceni, są niby rozsypani, zablakani, pozbawieni rozumu członkowie świętej rodziny, niby nie wyrosli z dzieciństwa krewni najwyższych inteligencji; istoty, którym — jak o tym świadczy niepodobny do utajenia, mimo iż nieskupiony na żadnym przedmiocie blask ich oczu — do posiadania talentu brakło tylko wiedzy.

Matka, widząc, że z trudem wstrzymuję łzy, mówiła:

— Regulus miał zwyczaj w doniosłych okolicznościach... I to jest bardzo nieładnie wobec twojej mamy. Zacytujmy, jak babcia, panią de Sévigné: „Będę się musiała zdobyć na całą siłę, której tobie brak”.

I przypominając sobie, że przywiązanie do drugiej osoby odwraca nas od samolubnych boleści, starała się zrobić mi przyjemność, powiadając, iż przypuszcza, że jej wyprawa do Saint-Cloud wypadnie dobrze, że jest zadowolona z wehikułu, który zatrzymała, że woźnica jest grzeczny, a powóz wygodny. Sililem się uśmiechnąć na te szczegóły i skłaniałem głowę z wyrazem zgody i zadowolenia. Ale pomagały mi one tylko wyobrazić sobie naczynniej odjazd mamy i ze ściśniętym sercem patrzyłem na nią, tak jakby już była daleko ode mnie, w tym okrągłym, słomkowym kapeluszu sprawionym na wieś, w lekkiej sukni, którą włożyła na drogę z powodu upału, co ją czyniło jakby inną, należącą już do willi *Montretout*, gdzie jej nie zobaczę.

Aby uniknąć w podróży ataków duszności, lekarz poradził mi napić się w chwili wyjazdu sporo piwa lub koniaku, aby osiągnąć stan — jak to nazywał „euforii”, gdy system nerwowy chwilowo staje się mniej pobudliwy. Nie byłem jeszcze pewien, czy to zrobić, ale chciałem bodaj, aby babka uznała, że w razie gdybym się zdecydował, miałbym za sobą prawo i rozsądek. Toteż mówiłem o tym tak, jak gdybym się wahał jedynie co do wyboru miejsca, gdzie się napiję czegoś, w bufecie czy w wagonie restauracyjnym. Ale pod wpływem wyrazu nagany, jaki przybrała twarz babki, niechcącej nawet przyjąć tej myśli do wiadomości, zdecydowany nagle pójść się napić — która to decyzja stawała się konieczna, aby dowieść mojej wolności, skoro ustna jej zapowiedź nie mogła przejść bez protestu — wykrzyknąłem:

— Jak to, ty wiesz, jaki jestem chory, wiesz, co mi powiedział lekarz, i to jest rada, jaką mi dajesz!

Kiedym się zwierzył babce ze swojej niedyspozycji, odpowiedziała z miną tak zmartwioną, taką dobrą: „Ależ tak, idź prędko napić się piwa lub koniaku, jeżeli to ci ma coś pomóc”, że rzuciłem się na nią, okrywając ją pocałunkami. A jeżeli mimo to poszedłem do baru i wypilem o wiele za dużo, to dlatego, iż czułem, że bez tego grozi mi atak zbyt gwałtowny i że to by zmartwiło babcię jeszcze bardziej. Kiedy na pierwszej stacji wróciłem do wagonu, oznajmiłem jej, jak jestem szczęśliwy, że jadę do Balbec; że czuję, iż wszystko ułoży się dobrze, w gruncie przyzwyczaję się szybko żyć bez mamy, pociąg jest przyjemny, garson w barze i konduktowy tak mili, iż chciałbym często odbywać tę drogę, aby mieć sposobność widywania ich. Ale babka nie wydawała się równie szczęśliwa ze wszystkich tych dobrych nowin. Odpowiedziała, starając się nie patrzeć na mnie:

— Może byś próbował przespać się trochę.

Po czym obróciła twarz do okna, przy którym spuściliśmy firankę niezasłaniającą go całkiem, tak iż słońce mogło rzucać na politurowaną dębową ramę oraz na obitą sukmem ławkę tę samą ciepłą i senną jasność, jaka odbywała się na polankach, będąc niby rekla-

mą życia na łonie natury, o wiele bardziej przekonywującą niż owe reklamy umieszczone zbyt wysoko w wagonach staraniem dyrekcji kolei i przedstawiające krajobrazy, których nazw nie mogłem odczytać.

Ale kiedy babka myślała, że ja mam oczy zamknięte, widziałem chwilami, jak spod woalki w duże grochy rzuca na mnie spojrzenie, potem je cofa, potem znów patrzy, niby ktoś, kto — chcąc się przyzwyczaić — podejmuje uciążliwe ćwiczenie.

Wówczas zacząłem mówić do niej, ale nie zdawało mi się, aby jej to było przyjemne. A przecież mnie własny mój głos sprawiał przyjemność; toż samo najłżejsze, najwewnętrzniejsze drgnienia mojego ciała. Toteż starałem się, aby trwały, pozwalałem każdej intonacji czepiać się długo słów, czułem, że każdemu z moich spojrzeń dobrze jest tam, gdzie spoczęło i że tam trwa ponad zwyczajny czas. „No, odpocznij — rzekła babka. — Jeżeli nie możesz spać, czytaj coś”. I podała mi tom pani de Sévigné, który otwarłem, gdy ona pograżyła się w *Pamiętnikach pani de Beausergent*. Nigdy nie ruszała się bez jakiegoś tomu jednej i drugiej. Byli to jej dwaj ulubieni autorzy.

Nie próbując poruszyć głową w tej chwili i znajdując wielką przyjemność w zachowaniu raz zajętej pozycji, trzymałem tom pani de Sévigné, nie otwierając go, i nie spuściłem na niego oczu, które miały przed sobą jedynie niebieską storę. Ale patrzeć na tę storę wydawało mi się czymś cudownym i nie byłbym sobie zadał trudu odpowiadania komuś, kto by mnie chciał wyrwać z kontemplacji. Niebieski kolor story, może nie przez swą piękność, ale przez żywość i nasilenie, tak dalece zaćmiewał wszystkie kolory, jakiem oglądał od urodzenia aż do chwili, kiedy się teraz napiłem i kiedy napój zaczął działać, że wobec tego błękitu, kolory owe były dla mnie równie szare, równie żadne, jak dla ślepych od urodzenia, późno operowanych, może być retrospektywnie — po ujrzaniu barw — ciemność, w jakiej żyli.

Stary konduktor przyszedł sprawdzić bilety. Srebrne połyski jego metalowych guzików znów mnie oczarowały. Bylbym go chciał prosić, aby usiadł obok nas. Ale on przeszedł do następnego wagonu, a ja myślałem z tęsknotą o życiu włóczęgów, którzy, spędzając całe życie w wagonie, co dzień oglądają starego konduktora. Przyjemność, jaką czerpałem z widoku niebieskiej story i z faktu, że usta miałem na wpół otwarte, zaczęła w końcu opadać. Stałem się ruchomszy, poruszyłem się trochę, otwarłem tom, który mi babka dała i zdołałem skupić uwagę na przerzucanych stronicach. I czytając, czułem rosnący podziw dla pani de Sévigné.

Nie trzeba się dać oszukać czysto formalnym cechom, wiążącym się z epoką, z życiem salonu i sprawiającym, iż wiele osób myśli, że rozgryzły panią de Sévigné, kiedy powiedzą: „Donieś mi, moja dobra”, albo „ten hrabia wydał mi się do rzeczy”, albo „Przewracać siano, to rzecz najładniejsza w świecie”. Już pani de Simone wyobraża sobie, że się upodoba do swojej babki, gdy pisze: „Pan de la Boulie ma się doskonale, wybornie może znieść nowiny o swojej śmierci” albo „Och, drogi margrabio, jakże mi się twój list podoba! Jakże tu nie odpowiedzieć”, lub wreszcie „Zdaje mi się, drogi panie, że pan mi jest winien odpowiedź, a ja panu tabakierki z bergamoty. Wywiążę się z tego w liczbie ośmiu, przyjdą potem dalsze... nigdy ziemia tyłu ich nie wydała. To zapewne dlatego, aby się panu spodobać”. I w tym stylu pisze o puszczaniu krwi, o cytrynach, wyobrażając sobie, że to jest styl pani de Sévigné. Ale babka, która poznała ją od wewnątrz, od strony miłości do jej bliskich i do natury, nauczyła mnie kochać prawdziwe piękności pani de Sévigné, które są całkiem inne. Miały mnie niebawem uderzyć tym więcej, ile że pani de Sévigné jest wielką artystką — z tej samej rasy co pewien malarz, którego miałem spotkać w Balbec i który miał tak głęboki wpływ na moją wizję świata — Elstir. Zrozumiałem w Balbec, że pani de Sévigné pokazuje nam rzeczy tak samo jak on, w kolejności naszych wrażeń, zamiast tłumaczyć na początku ich przyczynę. Ale już tego popołudnia, w tym wagonie, odczytując list, gdzie się zjawia blask księżycy: „Nie mogłam się oprzeć pokusie, kładę wszystkie niepotrzebne czepki i czapki, idę na tę promenadę, gdzie powietrze jest łagodne jak w moim pokoju; zastaję tam tysiąc dziwadeł, *białych i czarnych mnichów, szarych i białych zakonnic, bieliznę porzuconą tu i ówdzie, ludzi pochowanych stojąco, opartych o drzewa itd.*”, byłem oczarowany tym, co nazwałbym nieco później (czyż ona nie maluje pejzażów w ten sam sposób co on charakterystycznie?) akcentem Dostojewskiego w *Listach pani de Sévigné*.

Kiedy wieczorem, odprowadziwszy babkę i spędziwszy kilka godzin u jej przyjaciółki, wsiałem sam do pociągu, nadchodząca noc nie wydała mi się zbyt przykra; nie miałem spędzić jej jak więzien w pokoju, którego senność przeszkadzałaby mi zasnąć; otaczała mnie kojąca czynność wszystkich tych drgań pociągu, dotrzymujących mi towarzystwa, gotowych rozmawiać ze mną, o ile nie zdołam zasnąć, kołyszących mnie swoimi głosami, które splatałem niby dźwięk dzwonów w Combray wciąż w inny rytm (słyszac, wedle swojej fantazji, najpierw cztery równe szesnastki, potem szesnastkę wściekle zde-  
rzającą się z ćwiercią); neutralizowały odśrodkową siłę mojej bezsenności, wywierając na nią przeciwne ciśnienie, które mnie utrzymywało w równowadze i do którego moja nie-  
ruchomość, a niebawem sen garnęły się z tym samym orzeźwiającym wrażeniem, jakie byłby mi dał odpoczynek płynący z czujności potężnych sił w łonie natury i życia, gdybym mógł wcielić się na chwilę w jaką rybę śpiącą w morzu, niesioną w odrętwieniu prądami i falą lub w orla wspartego jedyne na burzy.

Wschody słońca są rekwizytem długich podróży koleją, jak jajka na twardo, ilustrowane dzienniki, talie kart, rzeki, na których łodzie męczą się, nie posuwając się naprzód. W pewnej chwili, kiedym rozbierał myśli, wypełniające mnie przez poprzednie minuty, chcąc sobie zdać sprawę, czym spał czy nie (sama niepewność, nakazująca mi zadać sobie to pytanie, dostarczała mi twierdzącej odpowiedzi), ujrzałem w kwadracie okna, ponad czarnym laskiem, postrzępione chmury. Miękkie ich puch miał kolor zdecydowanie różowy, martwy, niezdolny się odmienić, niby kolor barwiący pióra skrzydeł, które go sobie przyswoiły, lub pastel, na którym go pomieściła fantazja malarza. Lecz czułem, że, wręcz przeciwnie, kolor ten nie jest martwotą ani kaprysem, lecz koniecznością i życiem. Niebawem zgromadziły się za nim zapasy światła. Kolor stał się żywszy, niebo zabarwiło się pasem, który starałem się, przylepiając oczy do szyby, widzieć lepiej, bom czuł, że on jest w związku z głębokim istnieniem natury. Ale szyny zmieniły kierunek, pociąg skręcił, poranną scenę zastąpił w ramie okiennej nocny pejzaż z dachami błękitnymi od blasku księżycy, z sadzawką zanieczyszczoną perłową masą nocy, pod niebem jeszcze usianym wszystkimi gwiazdami; i już rozpaczalem, że stracił swój różowy pas nieba, kiedym go ujrzał na nowo, tym razem czerwony, w przeciwległym oknie, które porzucił przy nowym zagięciu szyn; tak że biegałem wciąż od jednego do drugiego okna, aby zbliżyć, aby posklejać przerywane i sprzeczne fragmenty mego pięknego szkarłatnego i zmiennego poranka, mieć jego całkowity widok i ciągły obraz.

Krajobraz stał się niespokojny, urwisty, pociąg zatrzymał się na stacyjce między dwiema górami. W głębi parowu, nad strumieniem, widać było tylko domek leśniczego, zanurzony w wodzie płynącej na wysokości okien. Jeżeli jakaś istota może być produktem gleby, której swoistego uroku w niej kosztujemy, w takim razie — bardziej jeszcze niż wieśniaczka, której obecności tak pragnąłem, błędząc samotnie po lasach Roussainville w stronie Méséglise — musiała nią być rosla dziewczyna, którą ujrzałem wychodzącą z dzbankiem mleka z tego domu i idącą ku stacji dróżką, oświetloną z ukosa wschodzącym słońcem. W dolinie, gdzie te pagórki zasłaniały resztę świata, jeżeli widywała ludzi, to chyba tylko w tych pociągach, zatrzymujących się przez chwilę. Szła wzdłuż wagonów, częstując kawą z mlekiem paru zbudzonych podróżnych. Zacerwieniona blaskiem poranku, twarz jej była różowsza niż niebo. Uczułem wobec niej ową żądzę życia, jaka odradza się w nas za każdym razem, kiedy na nowo uświadamiamy sobie piękno i szczęście. Zapominamy zawsze, że one są indywidualne, i, podstawiając pod nie w myśli konwencjonalny typ przeciętnej z rozmaitych twarzy, które się nam podobały, z przyjemności któreśmy poznali, osiągamy jedynie abstrakcyjne obrazy, mdłe i nudne, gdyż brak im właśnie owego charakteru rzeczy nowej, różnej od tego, cośmy znali, charakteru właściwego piękności i szczęściu. I wydajemy o życiu sąd pesymistyczny, w naszym przekonaniu trafny, sądząc, żeśmy uwzględnili w nim szczęście i piękno, podczas gdyśmy je opuścili i zastąpili syntezami, gdzie nie było z nich ani atomu. Tak ziewa zawczasu z nudów literat, gdy mu mówić o nowej „pięknej książce”, bo sobie wyobraża rodzaj mieszanki ze wszystkich pięknych książek, jakie czytał; podczas gdy piękna książka jest osobliwa, nieprzewidziana, i nie jest jakąś sumą poprzednich arcydzieł, ale czymś, do czego odkrycia nie wystarcza sobie przyswoić doskonale tę sumę, bo owo coś znajduje się właśnie poza nią. Z chwilą gdy poznał nowe dzieło, literat ów, przed chwilą znudzony, interesuje się światem, jaki ono maluje. Tak samo owa piękna dziewczyna — obca typom piękności,

jakie rysowała moja myśl, gdy byłem sam — obudziła we mnie natychmiast smak pewnego *szczęścia* (jedyna i zawsze osobliwa forma, pod którą możemy poznać smak szczęścia), szczęścia, które by można ziszczyć, żyjąc obok niej.

Ale i tu działała w znacznej mierze chwilowa pauza w Przyzwyczajeniu. Wzbogaciłem ową mleczarkę tym, że wobec niej znajdowała się moja pełna istota, zdolna kosztować żywych radości. Zazwyczaj żyjemy naszą istotą zredukowaną do minimum; większość naszych zdolności drzemie, bo wspierają się na przyzwyczajeniu, które wie, co trzeba robić i nie potrzebuje ich. Ale w tym poranku zdybanym w podróży przerwa w rutynie życia, zmiana miejsca i godziny, uczyniły ich obecność nieodzowną. Moje przyzwyczajenie, domatorskie i nienawykłe do oglądania poranków, nie dopisało, i wszystkie moje władze zbiegły się, aby je zastąpić, rywalizując między sobą w gorliwości — wznosząc się, niby fale, do wspólnego niezwykłego poziomu — wszystkie, od najniższej aż do najszlachetniejszej, od oddechu, apetytu i krążenia krwi, aż do wrażliwości i wyobraźni. Nie wiem, czy każąc mi wierzyć, że ta dziewczyna nie jest podobna do innych kobiet, dzięki urok tych miejsc mnożył jej uroki, ale ona oddawała im to z nawiązką. Życie wydałoby mi się rozkoszne, gdybym je tylko mógł, godzina po godzinie, spędzić z nią, towarzyszyć jej aż do strumienia, aż do krowy, aż do pociągu, być wciąż obok niej, czuć się jej znanym, mieć swoje miejsce w jej myśli. Wtajemniczyłaby mnie w czar wsi i pierwszych godzin dnia. Skinąłem na nią, aby mi podała kawę z mlekiem. Czułem potrzebę zwrócenia jej uwagi na siebie. Nie spostrzegła mnie, zawołałem ją. Przy bujnie rozwiniętym ciele twarz jej była tak złota i różowa, że widziało się ją niby przez oświetlony witraż. Wróciła, nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy coraz to szerszej, podobnej słońcu, gdyby je można utrwalić i gdyby się zbliżyło aż do nas, tuż, pozwalając się oglądać z bliska, olśniewając nas złotem i czerwienią. Objęła mnie przenikliwym spojrzeniem, ale już konduktorzy zamknęli drzwiczki, pociąg ruszył, ujrzałem, jak dziewczyna opuszcza dworzec i wraca ścieżką; był już jasny dzień: oddalałem się od jutrzeńki.

Czy moje podniecenie zrodziło się z tej dziewczyny, czy też, przeciwnie, ono głównie stworzyło przyjemność przeżywaną przy niej, w każdym razie było ono tak zespolone z tą przyjemnością, że żądza ujrzenia jej jeszcze była przede wszystkim pragnieniem duchowym. Nie dać temu stanowi podniecenia zginąć całkowicie, nie rozstawać się na zawsze z istotą, która, choćby bez swojej wiedzy, miała w nim udział! Nie tylko dlatego, że ten stan był przyjemny; ale zwłaszcza że (jak większe napięcie struny lub szybsza wibracja nerwu wydaje odmienny dźwięk lub kolor) dawał inną tonację temu, com widział, że mnie wprowadzał jako aktora w nieznaną wszechświat, nieskończenie bardziej interesujący. Owa ładna dziewczyna, którą widziałem jeszcze, gdy pociąg przyspieszył biegu, była jak gdyby cząstką innego, nieznanego życia, oddzielonego jakby smugą od zwykłej mojej egzystencji, czerpiącego z przedmiotów inne wrażenia; opuścić teraz to życie znaczyło umrzeć dla samego siebie. Aby zaznać tej słodczy, aby się czuć bodaj uczepionym owego życia, wystarczyłoby mieszkać blisko tej stacyjki, móc co rano zachodzić do tej wieśniaczki na kawę z mlekiem. Ale, ach! miała być zawsze nieobecna w innym życiu, ku któremu jechałem coraz szybciej i z którym godziłem się, jedynie snując plany, aby pewnego dnia wsiąść do tego samego pociągu i zatrzymać się na tym samym dworcu. Projekt ów miał i tę korzyść, że dostarczał pokarmu interesownej, czynnej, praktycznej, machinalnej, leniwej, ośrodkowej dyspozycji, będącej przyrodą naszego ducha, który rad się umyka wysiłkowi potrzebnemu na to, aby w ogólny i bezinteresowny sposób zgłębić w sobie samym doznane przez nas przyjemne wrażenie. Że zaś, z drugiej strony, chcemy dalej myśleć o tym wrażeniu, duch nasz woli je sobie roić w przyszłości, zręcznie przygotowywać okoliczności zdolne je wskrzesić, co nam nie objaśnia w niczym jego istoty, ale oszczędza trudu odtwarzania go w nas samych i pozwala mieć nadzieję doznania go na nowo z zewnątrz.

Niektóre nazwy miast, Vézelay lub Chartres, Bourges lub Beauvais, oznaczają po prostu w skrócie miejscowy kościół. To cząstkowe znaczenie, w jakim bierzemy je tak często, rzeźbi w końcu — o ile chodzi o miejsce jeszcze nam nieznanne — całą nazwę, która z chwilą gdy zapagniemy w nią wprowadzić ideę miasta nigdy niewidzianego, nałoży mu — niby odlew — te same cyzelacje, ten sam styl, uczyni zeń rodzaj wielkiej katedry. Ale nazwę Balbec, nazwę w stylu niemal perskim, wyczytałem na dworcu kolejowym, nad bufetem, białymi literami na niebieskiej tablicy. Przebiegłem szybko dworzec i bulwar

wiodący od dworca; spytałem o wybrzeże, żeby widzieć tylko kościół i morze; nie bardzo rozumiano, o co mi chodzi. Balbec-le-Vieux, Balbec-en-Terre, w którym się znalazłem, nie było ani plażą, ani portem. Niewątpliwie, wedle legendy, w morzu znaleźli rybacy cudownego Chrystusa, które to odkrycie opiewał witraż w kościele będącym o kilka metrów ode mnie; kamień służący do zbudowania nawy i wieży dobyto z raf smaganych falą. Ale to morze, które z tej racji wyobraziłem sobie konającym u stóp witrażu, było przeszło o pięć mil stąd, w Balbec-Plage; owa zaś wieża obok kopuły kościoła, którą — dlatego żem wyczytał, iż ona sama jest stromą normandzką skałą, nad którą zbierają się wichry, gdzie krążą ptaki — zawsze sobie wyobrażałem kąpiącą stopy w pianie wzburzonych fal, wznosiła się na placu, gdzie krzyżowały się dwie linie tramwajowe, na wprost kawiarni, noszącej złotymi literami wypisane słowo „Bilard”; a odcinała się na tle domów, gdzie między dachy nie zamieszła się żaden maszt. I kościół — wnikając w moją uwagę wraz z kawiarnią, z przechodniem, którego musiałem spytać o drogę, z dworcem kolejowym, dokąd miałem wrócić — łączył się z całą resztą, zdawał się przypadkiem, produktem schyłku tego popołudnia, w którym miękka i wzdęta na niebie kopuła była niby owoc o różowej, złocistej i rozplywającej się skórce, nasyconej tym samym światłem, które kąpało kominy domów.

Ale nie chciałem już myśleć o niczym, tylko o wiekuistym sensie rzeźb, kiedym poznał Apostołów, których odlewy widziałem w muzeum Trocadéro i którzy, po dwóch stronach Matki Boskiej, w głębokiej wklęsłości kruchty, czekali na mnie, jak gdyby robiąc mi honory. Z życzliwą i łagodną twarzą, o płaskich nosach, z przygiętym grzbietem, zdawali się zbliżać powitalnie, śpiewając *Alleluja* pogodnego dnia. Ale widać było, że ich wyraz jest niezmienny jak wyraz umarłego i że się zmienia tylko wtedy, kiedy patrzący krąży dokoła nich. Powiadałem sobie: to tutaj, to jest kościół w Balbec. Ten plac, robiący wrażenie, jakby znał swoją chwałę, to jest jedyne w świecie miejsce, które posiada kościół z Balbec. Dotąd widziałem tylko fotografie tego kościoła, tylko odlewy tych sławnych apostołów, tej Matki Boskiej z kruchty. Teraz to jest sam kościół, to sam posąg, to są one; one, jedyne: to coś o wiele więcej.

To było zarazem może mniej. Jak młody członek w dniu egzaminu lub pojedynku uważa pytanie profesora, wystrzeloną kulę za drobiazg w porównaniu z zasobami wiedzy i odwagi, które posiada i których byłby chciał złożyć dowód, tak samo mój umysł, który wznosił Matkę Boską z kruchty poza widzianymi odlewami, niedostępną skazom, jakim mogły ulec tamte, nietkniętą, gdyby tamte ktoś zniszczył, idealną, mającą wartość uniwersalną, dziwił się, widząc posąg, który rzeźbił tysiąc razy, sprowadzony teraz do jego własnej kamiennej postaci, zajmujący w stosunku do zasięgu mego ramienia miejsce, gdzie miał za rywalów afisz wyborczy i koniec mojej laski; przykuty do rynku, nieodłączny od wylotu ulicy, niezdolny uciec przed spojrzzeniami kawiarni i biura omnibusów, biorący na twarz połowę blasku zachodzącego słońca — a niebawem, za kilka godzin, połowę światła latarni, gdy biuro Kasy Pożyczkowej otrzymywało drugą jego połowę; nawiedzony równocześnie z tą filią zakładu kredytowego odorami kuchni cukiernika, podległy tyranii Poszczególności do tego stopnia, że gdybym chciał wyrycić na tym kamieniu swój podpis, to ona, dostojna Dziewica, którą do tej pory obdarzałem ogólnym istnieniem i nieetykalną pięknnością, Matka Boska z Balbec, ona jedyna (co, niestety, znaczyło sama jedna) na swoim cieple, zbrukanym tą samą sadzą co sąsiednie domy, ukazałaby, nie mogąc się go pozbyć, wszystkim swoim wielbicielom przybyłym tam, aby ją podziwiać, ślad mego kawałka kredy i litery mego nazwiska. Ona wreszcie była owym nieśmiertelnym i tak długo upragnionym dziełem sztuki, które odnajdowałem przeobrażone, jak i sam kościół, w małą kamienną staruszkę, i mogłem zmierzyć jej wysokość i policzyć zmarszczki.

Czas mijał, trzeba było wrócić na dworzec, gdzie miałem oczekiwać babki i Franciszki, aby się razem z nimi udać do Balbec-Plage. Przypominałem sobie, com czytał o Balbec, i słowa Swanna: „To urocze, to równie piękne jak Siena”. I obwiniając o mój zawód jedynie przypadek, nastrój, zmęczenie, nieumiejętność patrzenia, próbowałem się pocieszyć myślą, że zostały inne miasta jeszcze dla mnie nietknięte, że mógłbym niedługo może wniknąć — niby w deszcz perłę — w chłodny szmer wód Quimperlé, przebyć zielonkawy i różowy blask, w jakim kąpie się Pont-Aven; ale co się tyczy Balbec, z chwilą gdym się tam znalazł, to było tak, jak gdybym był otworzył imię, które trzeba było trzymać hermetycznie zamknięte, i gdzie — korzystając z dostępu, jaki im niebacznie stworzyłem,

wypędzając wszystkie obrazy żyjące tam dotąd — tramwaj, kawiarnia, ciżba chodząca po rynku, filie kasy pożyczkowej, nieodparcie popychane zewnętrznym parciem i pneumatyczną siłą, stłoczyły się wewnątrz sylab, które, zamknawszy się nad nimi, pozwalały im teraz obramiać kruchę perskiego kościoła i zostać tam już na zawsze.

W kolejce lokalnej, która miała nas zawieźć do Balbec-Plage, znalazłem babkę, ale samą. Wpadła na pomysł wysłania przed sobą Franciszki, tak aby wszystko było przygotowane z góry; ale dawszy jej fałszywą informację, wyekspediowała ją w złym kierunku. W tej chwili, nie domyślając się niczego, Franciszka pomykała z całą chyżością w stronę Nantes, aby się obudzić może w Bordeaux. Ledwie usiadł w wagonie wypełnionym ulotnym światłem zachodu i wytrzymałem popołudniowym gorącem (przy czym światło, niestety, pozwalało mi na twarzy babki sprawdzić, jak bardzo gorąco ją zmęczyło), spytała: „No co, Balbec?”, z uśmiechem tak żarliwie rozświeconym nadzieją wielkiej przyjemności, której, jak przypuszczała, doznałem, że nie śmiała wyznać jej tak od razu swojego zawodu. Zresztą wrażenie, jakiego szukał mój duch, mniej mnie zajmowało, w miarę jak się zbliżało miejsce, do którego ciało moje miało się przyzwyczajać. U kresu drogi, jeszcze oddalony przeszło o godzinę, starałem się sobie wyobrazić dyrektora hotelu w Balbec, dla którego byłem w tej chwili czymś nieistniejącym; byłbym pragnął przedstawić mu się w towarzystwie bardziej imponującym niż babka, która z pewnością zażąda rabatu. Jawił mi się nieuchronnie sztywny, ale bardzo mglisty w konturach.

Co chwilę kolejka zatrzymywała się na jednej ze stacji poprzedzających Balbec-Plage. Same ich nazwy (Incarville, Marcouville, Denville, Pont-à-Coulevre, Arambouville, Saint-Mars-le-Vieux, Hermonville, Maineville) zdawały mi się dziwaczne; choć gdybym je spotkał w książce, odczułbym ich powinowactwo z nazwami pewnych miejscowości w pobliżu Combray. Ale dla ucha muzyka, dwa motywy, materialnie zawierające wiele tych samych nut, mogą nie mieć żadnego podobieństwa, jeśli się różnią barwą harmonii i orkiestracji. Tak samo te smutne nazwy, utworzone z piasku, z nazbyt wietrznej i pustej przestrzeni i z soli, nazwy, nad które słowo *ville* wlatywało tak jak *vole* w *pigeon-vole*, nie przywoływały mi na myśl owych innych, jak Roussainville albo Martinville, które przez to, że je tak często wymawiała ciotka w „sali”, nabyły jakiegoś mrocznego czaru, gdzie zmieszały się może ekstrakty smaku konfitur, zapachu płonących drewn, papieru książki Bergotte’a i koloru domu naprzeciwko. I jeszcze dziś, kiedy się wznoszą jak bańka gazu z głębin mojej pamięci, zachowują swój odrębny smak poprzez spiętrzone warstwy różnych środowisk, jakie im trzeba przebyć, zanim osiągną powierzchnię.

Były to małe stacyjki, górujące nad odległym morzem z wysokości wydmy, gdzie układały się już na noc u stóp jaskrawo zielonych pagórków o kształcie niemiłym ni-by kanapa w obcym hotelu. Złożone z paru willi, uświetnionych kortem tenisowym, a niekiedy kasynem, którego chorągiew trzepotała się na chłodnym wietrze, zębata i płochliwa, stacyjki te ukazywały mi pierwszy raz swoich zwyczajnych gości, ale pokazywały mi niejako ich zewnętrzną powierzchnię — tenisiści w białych czapczkach, naczelnik stacji mieszkający przy swoich tamaryszkach i różach, dama w „*canotier*”, która kreśląc codzienną linię swojego na zawsze nieznanego mi życia, wołała ociągającego się charta i wchodziła do willi, gdzie lampa była już zapalona — a obrazy te, dziwnie zwyczajne, obrażająco pospolite, raniły okrutnie moje obce spojrzenia i moje wykołejone serce. Ale o ileż zwiększyła się męka, kiedyśmy wylądowali w hallu Grand Hotelu w Balbec, na wprost monumentalnych schodów imitujących marmur, podczas gdy babka, nie dbając, iż zwiększa wrogość i pogardę obcych, wśród których mieliśmy żyć, omawiała „warunki” z dyrektorem, podobnym do tłustego chińczyka, o twarzy i głosie w bliznach (na twarzy zostawiło je wycięcie licznych brodawek, na głosie różne akcenty, wynikłe z jego odległego pochodzenia i z kosmopolitycznego dzieciństwa) w smokingu światowca, z okiem psychologa biorącego zazwyczaj, za przybyciem „omnibusu”, wielkich panów za hołotę, a szczerów hotelowych za wielkich panów. Zapominając z pewnością, że on sam nie pobiera ani pięciuset franków miesięcznie, gardził głęboko osobami, dla których pięćset franków lub raczej (jak on mówił) „dwadzieścia pięć ludwików” jest „sumą” i uważał ich za pariasów, niebędących w Grand Hotelu na swoim miejscu.

Prawda, że w tym samym „Palace” byli ludzie, którzy płacili niezbyt drogo, zachowując mimo to pełny szacunek dyrektora, o ile był przeświadczony, że owe osoby liczą się z groszem nie przez ubóstwo, lecz przez skąpstwo. Skąpstwo nie mogłoby im w istocie



ująć nic z uroku, ile że jest przywarą i może tym samym zdarzyć się w każdej sferze. „Sfera” to była jedyna rzecz, na którą dyrektor zwracał uwagę, sfera lub raczej oznaki zdające się wskazywać, że ta sfera jest wysoka, jak na przykład to, aby nie zdejmować kapelusza w hallu, nosić knickerbockery<sup>51</sup>, paltot do figury i wyjmować z wytłaczanego, safianowego etui cygaro przepasane purpurą i złotem (wszystko przewagi, których mnie, niestety, brakowało). Dyrektor okraszał swoje handlowe dysertacje zwrotami wyszukаныmi, ale użytymi opacznie.

Podczas gdy słyszał, jak babka, niezrażona tym, że dyrektor rozmawia z nią pogwizdując i w kapeluszu na głowie, pyta go sztucznym tonem: „Jakież są pańskie ceny?... Och! o wiele za wysokie jak na mój skromny budżet”, ja, czekając na ławeczce, chroniłem się w najdalszą głąb samego siebie, siliłem się wyemigrować w myśli wieczne, nie zostawić nic z siebie, nic żyjącego, na powierzchni mego ciała — znieczulonego jak ciało zwierząt, które przez zawieszenie życia udają martwe, kiedy je zranić. Siliłem się nie nazbyt cierpieć w tym miejscu, gdzie mój absolutny brak przyzwyczajenia stał mi się tym dotkliwszy przez równoczesny widok swobody eleganckiej damy, której dyrektor okazywał szacunek, pieszcząc się z jej pieskiem, lub młodego fircyka, który, z piórkiem u kapelusza, wchodził, pytając „czy są jakie listy” — wszystko ludzie, dla których przebywać stopnie imitujące marmur znaczyło wracać do domu — gdy równocześnie panowie, którzy, niezbyt może biegli w sztuce przyjmowania, nosili tytuł „szefów biura przyjęć”, obrzucali mnie surowym spojrzeniem Minosa, Eaka i Radamanta, spojrzeniem, w którym zanurzałem swoją obnażoną duszę jak w nieznanym żywiole, gdzie nic już nie miało jej chronić. Dalej, za szklaną ścianą, goście siedzieli w czytelni, dla której opisu trzeba by mi kolejno wybierać u Dantego barwy, jakich poeta użycza Niebu i Piekłu — wedle tego, czym myślał o szczęściu wybranych, mających prawo czytać tam z całym spokojem, czy o grozie, w jaką by mnie wtrąciła babka, gdyby, w swojej obojętności na tego rodzaju wzruszenia, kazała mi tam wejść.

Wrażenie samotności wzmożło się we mnie jeszcze w chwilę później. Ponieważ znałem babkę, że się nie czuję dobrze i sądzę, iż będzie nam trzeba wracać do Paryża, bez protestu oznajmiła, że wychodzi po parę sprawunków, pożytecznych zarówno w razie powrotu, co w razie pozostania. (Dowiedziałem się potem, że wszystkie były dla mnie, gdyż Franciszka miała z sobą rzeczy, których bym mógł potrzebować). Czekając na babkę, poszedłem przejść się trochę po ulicach zapchanych tłumem, od którego było gorąco jak w mieszkaniu. Był jeszcze otwarty zakład fryzjerski oraz cukiernia, gdzie bywalcy jedli lody pod statua pana Duguay-Trouin. Statua ta sprawiła mi mniej więcej tyleż przyjemności, ile jej reprodukcja w jakiejś „ilustracji” może sprawić radości choremu przeglądającemu pisma w poczekalni chirurga. Dziwiłem się, że istnieją ludzie na tyle ode mnie różni, aby dyrektor mógł im poradzić tę przechadzkę po mieście jako rozrywkę, a także aby miejsce kaźni, jaką jest nowe mieszkanie, mogło się komuś wydawać „miejscem rozkoszy”, jak powiadał prospekt hotelu, który mógł przesadzać, ale który przecie zwracał się do całej klienteli, schlebiając jej gustom. Prawda, iż aby ściągnąć tę klientelę do Grand Hotelu w Balbec, powoływał się nie tylko na „znakomitą kuchnię” i na „feeryczny widok na ogrody kasyna”, ale także na „wyroki Jej Królewskiej Mości Mody, których nie można gwałcić bezkarnie, nie uchodząc za abderytę, na co żaden dobrze wychowany człowiek nie chciałby się narazić”.

Potrzeba ujrzenia babki rosła wraz z obawą, żem jej sprawił zawód. Musiała odczuwać smutek, widząc, iż skoro ja nie znoszę zmęczenia, w takim razie należy zwątpić o tym, aby jaka podróż wyszła mi kiedy na dobre. Zdecydowałem się wrócić i czekać na babkę; otworzył mi sam dyrektor, a nieznanymi mi jeszcze osobnikami, którego zwano „lift” (a który, na owym najwyższym punkcie hotelu, gdzie znajdowałyby się latarka normandzkiego kościoła, siedział zainstalowany niby fotograf za swoim oszkleniem lub organista w swojej izdebce), jął zstępować ku mnie ze zwinnością oswojonej, przemyślnej i uwięzionej wieiórki. Następnie, ślizgając się ponownie wzdłuż filara, porwał mnie z sobą ku sklepieniu hotelowej nawy. Za każdym piętrem, po obu stronach służbowych schodów, rozwijały się wachlarze mrocznych korytarzy, przez które, niosąc pościel, przechodziła pokojowa.

<sup>51</sup>knickerbockery — bufiaste, półdługie spodnie z zapinanymi mankietami pod kolanem; element mody męskiej (jako część stroju sportowego a. podróznego) od poł. XIX w. [przypis edytorski]

Nakładałem na jej niezdecydowaną w mroku twarz maskę swoich najnamiętniejszych marzeń, ale w zwróconym ku mnie jej spojrzeniu czytałem wstręt do mojej nicości. Jednakże, aby rozprószyć w trakcie nieskończonej jazdy śmiertelny lęk, jakiegom doznawał, przebywając tak w milczeniu tajemnicę tego półmroku wyzutego z poezji, oświetlonego prostopadłym rzędem szyb, jakimi świecił na każdym piętrze jedyny waterklozet, odezwałem się do młodego organisty, twórcy mojej podróży i towarzysza mojej niewoli, który wciąż wyciągał rejestry i naciskał klawisze swego instrumentu. Przeprosiłem go, że zajmuję tyle miejsca, że mu sprawiam tyle kłopotu, i spytałem, czy go nie krępuję w wykonywaniu sztuki, wobec której — aby pochlebić wirtuozowi — objawiłem więcej niż ciekawość, wyznałem swój kult. Ale nie odpowiedział nic i nie dowiedziałem się, czy przyczyną tego było zdziwienie moimi słowami, pochłonięcie pracą, tyrania etykiety, tępy słuch, szacunek dla miejsca, obawa niebezpieczeństwa, gnuśność inteligencji lub zakaz dyrektora.

Nic może bardziej nie stwarza wrażenia rzeczywistości świata zewnętrznego niż zmiana stosunku do nas osoby nawet mało znaczącej, zanim ją poznaliśmy, a potem. Byłem ten sam, który wsiadł pod wieczór tego dnia w kolejkę do Balbec, nosiłem w sobie tę samą duszę. Ale w tej duszy, w strefie, gdzie o szóstej, wraz z niemożliwością wyobrażenia sobie dyrektora, hotelu, personelu, mieściło się mętne i trwożliwe oczekiwanie chwili przybycia, teraz znajdowały się brodawki wycięte z twarzy dyrektora-kosmopolity (w istocie naturalizowanego obywatela Monaco, mimo iż był — jak powiadał, lubując się w wyrażeniach, które mu się wydawały dystyngowane, bez poczucia, że są błędnie użyte — „prowidencji<sup>52</sup> rumuńskiej”), jego gest kiedy dzwonił na „lifta”, sam „lift”, cały fryz marionetek, dobytých z owej puszki Pandory, jaką był Grand Hotel, niezaprzeconych, niewzruszonych i — jak wszystko, co się zrealizowało — wyjąławiających.

Ale sama ta zmiana, w której nie brałem udziału, dowodziła mi choć, że zaszła jakaś rzecz — choćby najmniej interesująca — na zewnątrz mnie. Byłem niby podróżny, który, mając słońce przed sobą z początkiem drogi, stwierdza, iż upłynęło ileś tam godzin, gdy widzi je za sobą. Upadałem ze zmęczenia, miałem gorączkę; byłbym się chętnie położył, ale nie miałem potrzebnych rzeczy. Byłbym chciał bodaj wyciągnąć się chwilę na łóżku, ale na co, skoro nie mógłbym tam dać wypocząć owemu zespołowi wrażeń, który jest dla każdego z nas jego ciałem świadomym (jeżeli nie ciałem materialnym) i skoro nieznanne przedmioty otaczające owo ciało, zmuszając je, aby wciąż utrzymywało swoje percepcje na stopie czujnej ofensywy, utrwalałyby moje spojrzenia, słuch, wszystkie moje zmysły, skurczone w pozycji równie niewygodnej (nawet gdybym wyciągnął nogi) jak położenie kardynała La Balue w klatce, gdzie nie mógł ani stać, ani usiąść. To nasza uwaga wstawia przedmioty do naszego pokoju, a przyzwyczajenie usuwa je stamtąd i robi nam miejsce. Tego miejsca nie było dla mnie w moim pokoju w Balbec (*moim* jedynie z nazwy); pełen był rzeczy, które mnie nie znały, które odwzajemniały mi nieufne spojrzenia i nie licząc się w najbliższej mierze z moim istnieniem, świadczyły, że zakłócam ich codzienny obyczaj. W domu słyszałem zegar tylko przez kilka sekund w tygodniu, tylko wtedy, kiedy się budził z głębokiego zamyślenia; tutaj zegar, nie przerywając sobie ani na chwilę, mówił w nieznanym języku rzeczy najwyraźniej dla mnie niepocholebne, skoro wielkie fioletowe portiery słuchały go, nie odpowiadając, ale w postawie osób, które wzruszają ramionami, aby okazać, iż widok kogoś obcego je drażni. Portiery te dawały wysokiemu pokojowi niemal historyczny charakter, który mógłby go uczynić odpowiednim dla zamordowania księcia de Guise, a później dla wizyty turystów z ramienia agencji Cooka, ale zgoła nie dla mego snu. Dręczyła mnie obecność oszklonych szafek biegnących wzdłuż ścian; zwłaszcza wielkie tremo, które stanęło w poprzek pokoju: czułem, że przed jego odejściem nie zdołam odzyskać swobody. Podnosiłem co chwila oczy — troszczące się w moim paryskim pokoju o jego sprzęty równie mało co o własne źrenice, ile że sprzęty te były już tylko przynależnością moich organów, projekcją mnie samego — na wyniosły sufit tej położonej na szczycie hotelu gloriетки, którą babka wybrała dla mnie. W strefie bardziej wewnętrznej niż ta, w której widzimy i słyszymy, w owej strefie, gdzie odróżniamy gatunki zapachów, prawie wewnątrz mojego ja, zapach „bagna” zapuszczał w ostatnie moje szanse swoją ofensywę, której nie bez wysiłku przeciwstawiłem daremny i nieustanny

<sup>52</sup>prowidencja — opatrność; w tym kontekście chodzi o *proweniencje*: pochodzenie. [przypis edytorski]

odpór zaniepokojonego sapania. Nie mając już świata, pokoju, ciała, które by nie były zagrożone przez otaczających mnie wrogów, przenikniony do kości gorączką, byłem sam, miałem ochotę umrzeć. W tej chwili weszła babka i wybuchowi mojego zdławionego serca otwarły się natychmiast nieskończone przestrzenie.

Miała perkalowy szlafrok, który kładła w domu za każdym razem, kiedy ktoś z nas był chory (bo się w nim czuła wygodniej — powiadała, przypisując zawsze wszystkiemu, co robiła, egoistyczne pobudki) i który, kiedy nas pielęgnowała, kiedy czuwała nad nami, był dla niej fartuchem służącej i dozorczyni, strojem siostry zakonnej. Ale gdy starania tych osób, ich dobroć, ich zasługa i nasza wdzięczność powiększają jeszcze wrażenie, że jesteśmy dla nich kimś obcym, że jesteśmy samotni, zmuszeni zachować dla siebie brzemień własnych myśli, własnej żądzy życia, przeciwnie, kiedy byłem z babką, wiedziałem, że choćbym miał w duszy największe zmartwienie, zawsze ono utuli się w jeszcze większym współczuciu; że wszystko, co jest moje, moje zgrzyoty, moja wola, spotka się u niej z pragnieniem zachowania i pomnożenia mego własnego życia o wiele silniejszym, niż było u mnie; i myśli moje wnikały w nią, nie ulegając skrzywieniu, bo przechodziły z mojej duszy w jej duszę, nie zmieniając środowiska, osoby. I — jak ktoś, kto chce zawiązać krawat przed lustrem, nie rozumiejąc, iż koniec, który widzi, nie znajduje się w stosunku do niego z tej strony, w którą kieruje rękę, lub jak pies, który ściga po ziemi tańczący cień owada — tak ja, oszukany pozorem ciała, jak zazwyczaj dzieje się z nami na tym świecie, gdzie nie poznajemy bezpośrednio dusz, rzuciłem się w ramiona babki i przytknąłem usta do jej twarzy, jakbym w ten sposób docierał do tego olbrzymiego serca, otwierającego się dla mnie. Kiedy miałem tak usta przyklepione do jej twarzy, czoła, czerpałem z nich coś tak dobrego, odżywczego, że zachowywałem nieruchomość, powagę, spokojną łapczywość ssącego dziecka.

Patrzałem następnie nieznużenie na jej dużą twarz, wyciętą niby piękna chmura jarząca i spokojna, poza którą czuło się promieniującą tkliwość. I wszystko, co czerpało choćby w najśłabszej mierze coś z niej, wszystko, o czym można by powiedzieć, że jeszcze należy do niej, stawało się natychmiast tak uduchowione, uświęcone, że gładziłem dłońmi jej piękne, ledwie siwiejące włosy z taką czcią, z taką ostrożnością i słodyczą, co gdybym pieścił na nich jej dobroć. Znajdowała tyle radości we wszelkim trudzie, który mnie go oszczędzał, czuła coś tak rozkosznego w momencie bezruchu i odpoczynku moich zmęczonych członków, iż kiedy, spostrzegłszy, że ona chce mi pomóc położyć się i rozzuć, sprzeciwiłem się gestem i zacząłem się rozbierać sam, zatrzymała błagalnym spojrzeniem moje ręce, dotykające pierwszych guzików marynarki i bucików.

— Och, proszę cię — rzekła. — To taka radość dla twojej babci. A zwłaszcza nie zapomnij zapukać w ścianę, gdybyś potrzebował czego w nocy; moje łóżko przylega do twojego, przepierzenie jest bardzo cienkie. Za chwilę, kiedy się położysz, zapukaj na próbę, dla sprawdzenia, czy się dobrze rozumiemy.

I w istocie tego wieczora zapukałem trzy razy. W tydzień później, będąc niezdrów, powtarzałem to przez kilka dni co rano, bo babka chciała mi podać wcześniej mleko. Wówczas, kiedy mi się zdawało, że nie śpi — aby nie czekała i aby mogła zaraz potem zasnąć na nowo — ryzykowałem trzy lekkie pukania, nieśmiałe, słabe, a przecież wyraźne; o ile bowiem lękałem się przerwać jej sen, w razie gdybym się omylił i gdyby spała jeszcze, nie byłbym także chciał, aby, nie usłyszawszy od razu, czatowała na znak, którego nie śmiałybym ponowić. I ledwie zapukałem swoje trzy razy, zaraz odpowiadały mi trzy pukania, o innym akcencie, pełne spokojnej powagi, dwukrotnie powtórzone dla pewności i jakby mówiące: „Nie bój się, słyszałam, za chwilę będę przy tobie”; i wkrótce potem babka zjawiała się. Opowiadałem jej, jak się bałem, że mnie nie usłyszysz lub pomyśli, że to jaki sąsiad pukał; śmiała się:

— Pomylić pukanie mojego kotusia z jakimś innym, ależ pomiędzy tysiącem babcia by je poznała. Czy myślisz, że są na świecie inni, którzy by byli takie głupiątko, takie nerwusy, dręczący się obawą obudzenia mnie lub tym, że ich mogą nie zrozumieć! Ale gdyby nawet mała myszka poprzestała na skrobnięciu, zaraz by się ją poznało, zwłaszcza gdy jest taka jedyna i taka biedna jak moja. Słyszałam ją już od paru chwil, jak się waha, jak się kręci po łóżku, jak próbuje wszystkich sposobów.

Babka rozsuwała zasłony; na skrzydle hotelu słońce już się rozsiadło na dachu, niby pobijacz, wcześniej zaczynający pracę i spełniający ją w milczeniu, aby nie budzić miasta,

które śpi jeszcze i którego bezwład tym bardziej uwydatnia jego czynność. Mówiła mi, która godzina, jaka pogoda i że nie warto się zrywać, że jest na morzu mgła i czy piekarnię już otwarto, i co to za powóz słychać; całe to nieznaczące uchylenie firanki, to błahe *introit* dnia pozbawione świadków, kawałeczek życia tylko między nami dwojgiem, życia, które wywołałbym chętnie w ciągu dnia wobec Franciszki lub wobec obcych, mówiąc o mgle dającej się krajać jak ser, jaka była o szóstej rano, z ostentacją nie nabytej wiedzy, ale dowodu czułości otrzymanego przeze mnie samego; słodka poranna chwila, rozpoczynająca się niby symfonia rytmicznym dialogiem moich trzech pukań, na które przesiąknięta czułością i weselem ścianka, nagle harmonijna, niematerialna, śpiewająca jak aniołowie, odpowiadała trzema innymi pukaniem, żarliwie oczekiwany, powtórzonymi dwukrotnie, przynosząc mi całkowitą duszę babki i obietnicę jej przyjścia, z radością zwiastowania i z wiernością muzyczną.

Ale owej pierwszej nocy po przybyciu, kiedy babka mnie opuściła, zacząłem cierpieć tak, jak już cierpiałem w Paryżu w chwili wyjazdu. Może to przerażenie — znane tyłu innym — jakim przejmował mnie fakt, że mam spać w nieznanym pokoju, może to przerażenie jest tylko najbardziej pokorną, tajemną, organiczną, prawie nieświadomą formą owego wielkiego, rozpaczliwego protestu, jaki przeciwstawiają rzeczy stanowiące najlepszą cząstkę naszego obecnego życia temu, abyśmy się godzili w myśli na formułę przyszłości, w której ich nie ma. Protest ten był w gruncie grozą, jaką we mnie tak często budziła myśl, że rodzice umrą kiedyś, że los mógłby mi kazać żyć z dala od Gilberty lub po prostu osiąść na stałe w jakimś kraju, gdzie nie ujrzałbym już nigdy swoich przyjaciół; protest stanowiący również istotę ciężkości, z jaką przychodziło mi myśleć o własnej śmierci lub o drugim życiu podobnym temu, jakie Bergotte obiecywał w swoich książkach: istnieniu, w które nie mógłbym zabrać swoich wspomnień, swoich wad, swojego charakteru, niegodzących się z myślą, że mogłyby już nie być, i niechcących dla mnie ani nicości, ani wieczności, w której by ich już nie było.

Kiedy Swann powiedział mi raz w Paryżu, w dniu, gdym był szczególnie cierpiący: „Powinien by pan jechać na rozkoszne wyspy Oceanii: zobaczy pan, że pan już stamtąd nie wróci”, byłbym chciał odpowiedzieć mu: „Ależ wówczas nie zobaczyłbym już pańskiej córki, żyłbym pośród rzeczy i ludzi, których ona nigdy nie widziała”. A przecie rozum powiadał mi: „Co ci to szkodzi, skorobys się tym nie zmartwił? Kiedy pan Swann powiada ci, że nie wrócisz, rozumie przez to, że nie chciałbyś wrócić; a skoro byś nie chciał, to znaczy, że tam będziesz szczęśliwy”. Bo rozum mój wiedział, że przyzwyczajenie — przyzwyczajenie, które miało obecnie kazać mi pokochać to nieznanne mieszkanie, zmienić miejsce lustra, odcień firanek, zatrzymać zegar — podejmuje się równie dobrze kazać nam pokochać towarzyszków nieprzyjemnych zrazu, dać inny kształt twarzom, usympatyznić dźwięk głosu, zmienić skłonności naszych serc. Z pewnością, te nowe przyjaźnie do miejsc i osób czerpią watek w zapomnieniu dawnych; ale właśnie mój rozsądek myślał, że mogę oglądać bez lęku perspektywę życia dzielącego mnie na zawsze od istot, których straciłbym pamięć, i jako pociechę ofiarowywał memu sercu nadzieję zapomnienia, wzmagającą, przeciwnie, jego rozpacz. To nie znaczy, aby nasze serce nie miało również doznać, skoro rozłąka się ziści, znieczulających skutków przyzwyczajenia; ale do tej pory będzie cierpiało. I obawa przyszłości, pozbawiającej nas widoku i rozmowy tych, których kochamy i z których czerpiemy dziś swą najdroższą radość, ta obawa, daleka od rozprószenia się, rośnie, jeżeli myślimy, że do bólu takich wyrzeczeń przybędzie coś, co się nam obecnie wydaje jeszcze okrutniejsze: nie czuć bólu tej straty, być na nią obojętnym. Bo wówczas nasze *ja* odmieniłoby się; już nie tylko urok rodziców, kochanki, przyjaciół, przestałby istnieć dokoła nas, ale nasze przywiązanie do nich; byłoby tak dokładnie wyrwane z naszego serca, którego stanowi obecnie znaczną część, że moglibyśmy sobie podobać w owym życiu oderwanym od nich, o którym myśl przejmuje nas dziś grozą; byłaby to więc prawdziwa śmierć nas samych, śmierć z następowym co prawda zmartwychwstaniem, ale w odmiennym *ja*, do którego miłości nie mogą się wznieść cząstki dawnego *ja*, skazanego na zamarcie. To one — nawet owe najwęższe, najciemniejsze przywiązania do wymiarów i do atmosfery pokoju — płoszą się i wzdrażliwiają, w buntach, w których trzeba widzieć tajemną, cząstkową, dotykającą i prawdziwą formę oporu wobec śmierci, długiego, rozpaczliwego i codziennego oporu wobec cząstkowej i kolejnej śmierci, takiej, jaka się wciska w całe trwanie naszego życia, odrywając

co chwila strzępy nas samych, na których zniweczeniu rozmnożą się nowe komórki. I dla natury nerwowej jak moja, to znaczy takiej, w której elementy przewodzące, nerwy, źle spełniają swoje funkcje — nie zatrzymując w drodze ku świadomości skargi najniższych składników mego *ja*, które mają zniknąć, lecz pozwalając, przeciwnie, dotrzeć tam owej skardze, wyraźnej, wyczerpującej, nieprzeliczonej i bolesnej — dla natury nerwowej jak moja, trwożliwy niepokój, jaki czułem pod tym nieznanym i za wysokim sufitem, był jedynie protestem żyjącej we mnie przyjaźni dla sufitu znajomego i niskiego. Bez wątplenia, przyjaźń ta miała zniknąć, skoro inna zajmie jej miejsce (wówczas śmierć, potem nowe życie, spełnią, pod mianem Przyzwyczajenia, swe podwójne dzieło); ale aż do swego unicestwienia, co wieczora miała cierpieć. I zwłaszcza pierwszego wieczora, znalazłszy się w obliczu przyszłości już ziszczonej, gdzie nie było dla niej miejsca, buntowała się, dręczyła mnie krzykiem swoich lamentów za każdym razem, kiedy moje spojrzenia, nie mogąc się odwrócić od tego, co je raniło, próbowały spocząć na niedostępnym suficie.

Ale nazajutrz rano! — skoro służący przyszedł mnie zbudzić i przynieść mi ciepłą wodę, podczas gdy się ubierałem i gdy daremnie próbowałem znaleźć potrzebne rzeczy w kufirze, skąd wydobywałem bezładnie inne, niemogące mi się zdać na nic, co za radość, myśląc już o przyjemności śniadania i spaceru, widzieć w oknie i we wszystkich szybach szafek na książki, niby w okienku kabiny okrętowej, morze nagie, bez chmur, a przecie tonące w cieniu połową swojej przestrzeni, którą wyznaczała cienka i ruchoma linia; bieć okiem za falami, rzucającymi się jedna za drugą niby skoczki z trampoliny! Co chwila, trzymając w ręku sztywny i nakrochmalony ręcznik z hotelową firmą, którym daremnie siliłem się osuszyć, wracałem do okna, aby rzucić jeszcze jedno spojrzenie na ten rozległy, olśniewający i górzysty krąg i na śnieżne szczyty jego fal. Wycięte ze szlifowanego miejscami i przejrzystego szmaragdu, ze spokojną gwałtownością i lwim zmarszczeniem dawały się przewalać wielkim płaszczyznom, na których słońce kładło swój uśmiech bez twarzy. Okno, w którym miałem potem stawać co rano niby w szybie dylizansu po przespanej w nim nocy, aby sprawdzić, czy przez noc zbliżył się czy oddalił upragniony łańcuch — pagórki morza, które, nim wrócą do nas tańcząc, mogą cofnąć się tak daleko, że często dopiero poza długą piaszczystą równiną widziałem bardzo odległe ich pierwsze undulacje, w przezroczystej dali, mglistej i sinej jak owe lodowce, widniejące w głębi obrazu u toskańskich prymitywów. Innym razem słońce śmiało się tuż koło mnie na owych falach o zieleni tak delikatnej jak ta, którą zapewnia alpejskim łąkom (w górach, gdzie słońce kładzie się tu i ówdzie niby olbrzym schodzący wesoło, nierównymi skokami po zboczach) nie tyle wilgotny grunt, ile ruchliwa płynność światła. Zresztą, w szczybie jaką plaża i fale czynią w reszcie świata po to, aby tamtędy wpuścić i nagromadzić tam światło, to ono, światło — zależnie od kierunku, z którego pada i w którym biegnie nasze oko — przemieszcza i określa pagórkowatość morza. Rozmaitość oświetleń zmienia topografię danego miejsca, wznosi przed nami nowe cele, budząc w nas chęć ich osiągnięcia, nie gorzej, niż by to zrobił długi i istotnie przebyty szlak podróży. Kiedy rano słońce wychodziło zza hotelu, odsłaniając przede mną piaski oświetlone aż do pierwszych przypór morza, miałem wrażenie, że mi ukazuje inny stok i zachęca mnie, abym dalej, krętą drogą jego promieni, ciągnął nieruchomą i pełną wrażeń podróż przez najpiękniejsze miejsca kapryśnego krajobrazu godzin. I od tego pierwszego ranka słońce uśmiechniętym palcem wskazywało mi w oddali owe błękitne wierzchołki morza, niemające nazwy na żadnej mapie, aż, oszołomione swoją tryumfalną przechadzką po grzmiącej i chaotycznej powierzchni ich grzebieni i przepaści, schroniło się przed wiatrem w moim pokoju, barłóżąc się na nieposłanym łóżku, rozrzucając swoje bogactwa na mokrej umywalni, na otwartej walizce, gdzie, przez samą swoją świetność i przez swój niewczesny zbytek zwiększało jeszcze wrażenie nieładu. Niestety, w godzinę później, w wielkiej sali jadalnej — gdyśmy jedli śniadanie i kiedy ze skórzanego bukłaka cytryny rozlewaliśmy parę złotych kropel na dwie sole, które niebawem zostawiły na talerzach pióropusze swoich ości fryzowanych jak pióra i dźwięcznych jak cytra — babka martwiła się, że nie możemy czuć ożywczego tchu morza z powodu przezroczywej, lecz zamkniętej szyby, która na kształt witryny oddzielała nas od plaży, pozwalając nam ją oglądać w całej szerokości, przy czym niebo wnikało w tę witrynę tak całkowicie, iż lazur jego robił wrażenie, że jest kolorem szyb, a białe chmurki skazą na szkle.

Wmawiając w siebie że „siedzę na molo” lub w głębi „buduaru”, o którym mówi Baudelaire, pytałem sam siebie, czy jego „słońce prażące promieniami morze” — bardzo w tym odmienne od wieczornego blasku, skromnego i powierzchownego niby drżąca i złocista smuga — nie jest właśnie słońcem, które w tej chwili paliło morze na kształt topazu, burzyło je, czyniło je białym i mlecznym niby piwo, pieniając się jak mleko, podczas gdy chwilami wałęsały się wielkie błękitne cienie, jak gdyby jakiś Bóg przemieszczał je dla zabawy, migając na niebie zwierciadłem.

Na nieszczęście, ta jadalnia w Balbec nie tylko swoim wyglądem różniła się od „sali” w Combray, wychodzącej na domy naprzeciwko. Była naga, wypełniona słońcem zielonym jak woda w pływalni, od której o kilka metrów przypyły morza i jasny dzień wznosiły, niby przed niebieskim grodem, niezniszczalny i ruchomy szaniec ze szmaragdu i złota. W Combray, ponieważ nas wszyscy znali, nie troszczyłem się o nikogo. W kąpielisku zna się tylko najbliższych sąsiadów. Nie byłem jeszcze dość dorosły, a zostałem zbyt wrażliwy, aby się wyrzec chęci podobania się ludziom i zdobywania ich. Nie miałem owej szlachetniejszej obojętności, jaką zachowałby człowiek światowy wobec osób śniadających we wspólnej sali lub wobec młodych ludzi i panien spacerujących po promenadzie. Co do mnie, na ich widok cierpiałem, że nie będę mógł z nimi robić wycieczek; ale cierpiałbym jeszcze bardziej, gdyby babka, gardząca formami i troszcząca się tylko o moje zdrowie, zwróciła się do nich z upokarzającą dla mnie prośbą, aby mnie dopuścili do swoich spacerów.

Czy to gdy wracali do jakiejś nieznannej willi, czy kiedy szli z raketami na plac tenisowy lub dosiadali koni, których kopyta deptały mi serce, patrzałem na nich z namiętą ciekawością, w owym oślepiającym świetle plaży, gdzie proporcje socjalne tak się zmieniają. Śledziłem wszystkie ich ruchy poprzez przejrzystość wielkiej oszklonej ościeży, która przepuszczała tyle światła. Ale zatrzymywała wiatr; i to była wada, zdaniem mojej babki, która, nie znosząc myśli, iż mógłbym stracić godzinę powietrza, otwarła ukradkiem okno, zdmuchując za jednym zamachem karty restauracyjne, gazety, woalki i czapeczki osób jedzących właśnie śniadanie; przy czym ona sama, orzeźwiona niebiańskim tchem, pozostawała spokojna i uśmiechnięta jak święta Blandyna, pośród złorzeczeń, które, zwiększając we mnie wrażenie samotności i smutku, jednoczyły przeciw nam wzgardliwych, szczochnych i wściekłych turystów.

Zaludnienie tego rodzaju luksusowych hoteli bywa zazwyczaj banalnie bogate i kosmopolityczne; w Balbec mieszkańcy Grand Hotelu — co im dawało charakter bardziej regionalny — składali się po części z wybitnych osobistości departamentów tej części Francji; pierwszy prezydent sądu z Caen, dziekan palestry z Cherbourg, wzięty rejent z Le Mans, którzy w porze wakacji, wyruszając z punktów, gdzie przez cały rok byli rozsypani jak tyralierzy lub piaski w warcabach, skupiali się w tym hotelu. Zajmowali zawsze te same pokoje i, wraz z żonami mającymi pretensje do arystokracji, tworzyli grupę, do której przyłączyli się wielki adwokat i wielki lekarz paryski. Ci w dniu wyjazdu mówili do tamtych:

— A, prawda, państwo nie jedziecie tym samym pociągiem, szczęśliwi jesteście, będziecie w domu na śniadanie.

— Jak to, szczęśliwi! Pan mieszka w stolicy, w Paryżu, w wielkim mieście, gdy ja pleśnieję w prowincjonalnej dziurze o stu tysiącach mieszkańców! Prawda, że przy ostatnim spisie ludności było sto dwa tysiące, ale co to jest przy was, którzy liczycie dwa i pół miliona i którzy odnajdziecie asfalt i cały blask paryskiego świata.

Mówili to z chłopskim charczeniem litery „r”, bez goryczy, bo to byli luminarze swoich prowincji, którzy mogliby jak inni osiąść w Paryżu — niejedną raz ofiarowywano pierwszemu prezydentowi z Caen fotel w trybunale kasacyjnym — ale woleli zostać na miejscu przez miłość swojego miasta, przez skromność albo przez pychę, albo dlatego, że byli reakcyjniści i dla stosunków z okolicznym ziemiaństwem. Wielu z nich zresztą nie zaraz wracało do swojej powiatowej stolicy.

Bo zatoka Balbec była małym, osobnym światem pośród wielkiego, koszykiem pór roku, gdzie znajdowały się ułożone w krąg rozmaite dni i kolejne miesiące. Nie tylko w dniu, kiedy było widać Rivebelle, co było znakiem burzy, widziało się tam słońce na domach, gdy w Balbec było czarno; ale także kiedy w Balbec nastąpiła zima, miało się

pewność znalezienia na owym drugim brzegu dwóch lub trzech dodatkowych miesięcy ciepła. Toteż ci z mieszkańców Grand Hotelu, których wakacje zaczynały się późno lub trwały długo, kazali z nadejściem mgły i deszczów, za zbliżeniem jesieni, ładować swoje walizy na łódź i jechali odnaleźć lato w Rivebelle lub Costedor. Ta grupka gości Balbec patrzyła nieufnym wzrokiem na każdego przybysza; udając, że się nim nie interesują, wszyscy zasięgali o nim informacji u swojego przyjaciela, starszego kelnera. Bo ten Aimé wracał tam co roku na sezon i zatrzymywał im stałe stoliki; a ich panie małżonki, wiedząc, że żona Aimégo spodziewa się potomka, pracowały po obiedzie nad wyprawką, mierząc równocześnie przez lornetkę babkę i mnie, bo jedliśmy jajka na twardo z sałatą, co uchodziło za gminne i nie było przyjęte w wielkim świecie Alençon. Zachowywali pogardliwą ironię wobec pewnego Francuza, którego nazywano „Najjaśniejszym” i który w istocie sam się ogłosił królem wysepki na Oceanii, zaludnionej przez garstkę dzikich. Mieszkał w hotelu z ładną kochanką, przed którą, kiedy szła się kąpać, urwisy krzychały: „Niech żyje królowa!”, ponieważ rozrzuciła między nich drobną monetę. Pan prezydent i pan dziekan nie chcieli nawet okazać, że ją dostrzegają, kiedy zaś ktoś z ich przyjaciół patrzył na „królową”, uważali za właściwe ostrzec go, że to jest prosta midinetka.

— Ależ zaręczano mi, że oni w Ostendzie używali kabiny królewskiej.

— Oczywiście! Można mieć tę kabinę za dwadzieścia franków. Może ją pan wynająć, jeśli to panu robi przyjemność. I wiem pozytywnie, że prosił o audiencję u króla, który mu dał do zrozumienia, że nie życzy sobie znajomości z monarchą z operetki.

— Doprawdy! To ciekawe! W istocie, bywają ludzie!...

I z pewnością wszystko to była prawda, ale było w tym zarazem przykre poczucie, że dla tłumu oni są tylko pocziwymi mieszczuchami, nieznanymi tego króla i tej królowej, rozrzucających srebrniki. I dlatego rejent, prezydent, dziekan, spotykając tych, których nazywali „pajacami”, odczuwali taką niechęć i objawiali głośnie oburzenie. Świadom był tego zgorzienia ich przyjaciel, *maitre d'hotel*, który, zmuszony uśmiechać się mile do tych „panujących”, bardziej hojnych niż autentycznych, przyjmując ich zamówienie, mrugał znacząco w stronę starych klientów.

Może coś z tej samej irytacji, że przez nieświadomość tłum uważa ich za mniej eleganckich i że nie mogą wytłumaczyć, iż są, przeciwnie, „elegantsi”, wchodziło w wykrzyknik: „Ładny ananas!”, jakim filary Balbec określały młodego fircyka, gruźliczego i marnotrawnego syna wielkiego przemysłowca. Ten, co dzień w innej kurteczce, ze storczykiem w butonierce, pił szampana przy śniadaniu i szedł błądy, niewzruszony, z obojętnym uśmiechem, rzucił w kasynie na stół bakaratowy ogromne sumy, „nie mając z czego przegrywać” — powiedział dobrze poinformowanym tonem rejent do prezydenta, którego żona „wiedziała z dobrego źródła”, że ów młody człowiek „*fin de siècle*” przyprawia o czarną zgryzotę rodziców.

Z drugiej strony dziekan i jego przyjaciele nie szczędzili sarkazmów pewnej starej damie, bogatej i utytułowanej, ponieważ nie ruszała się inaczej niż z całym dworem. Za każdym razem, kiedy pani rejentowa i pani prezydentowa widziały ją w jadalni w porze obiadu, lustrowały ją impertynencko lornetkami z tą bacznością i nieufną miną, co gdyby była jakimś daniem o pompatycznej nazwie, ale podejrzanym wyglądem, potrawą, którą po ujemnym wyniku metodycznej obserwacji odsuwa się niechętnie z grymasem niesmaku.

Bez wątplenia panie te chciały jedynie okazać, że jeżeli są pewne rzeczy, których im zbywa — w danym wypadku zbywało im pewnych prerogatyw starej damy i bliższych z nią stosunków — to nie dlatego, aby nie mogły, ale że nie chciały ich posiadać. Ale w końcu przekonały o tym same siebie; i to wyrzeczenie się wszelkich pragnień, ciekawości nieznanych form życia, nadziei spodobania się nowym istotom, zastąpionych u tych kobiet udaną wzgardą, sztuczną swobodą, miało tę wadę, że kryło kwas pod etykietką zadowolenia i kazało im ustawicznie kłamać samym sobie — dwa powody, aby się czuć źle. Ale właściwie wszyscy w tym hotelu postępowali w ten sposób, mimo że pod różnymi formami, i poświęcali — jeżeli nie miłości własnej, to przynajmniej pewnym zasadom wychowania lub nawykom intelektualnym — rozkoszne emocje wmieszania się w nieznaną życie. Bez wątplenia, mikrokosmos, w którym izolowała się stara dama, nie był zatruty jadowitymi kwasami, jak grupa, gdzie podśmiechiwały się z wściekłości rejencina lub prezydentowa. Przeciwnie, woniał on delikatnym i staroświeckim zapachem, który

był nie mniej sztuczny. Bo w gruncie stara dama byłaby prawdopodobnie znalazła urok w tym, aby czarować, aby — odmieniając w tym celu samą siebie — zdobywać tajemniczą sympatię nowych istot; urok, z którego wyzuta jest przyjemność obcowania jedynie z osobami ze swego świata i pamiętania iż, wobec tego, że ów świat jest najlepszym z istniejących, prostacka wzgarda drugich jest bez znaczenia. Może stara dama czuła, że gdyby przybyła nieznaną do Grand Hotelu w Balbec, swoją czarną wełnianą suknią i niemodnym czepeczkiem ściągnęłaby uśmiech jakiegoś hulaki, który by ze swego „rocking” mruknął: „cóż za bieda z nędzą!”, lub zwłaszcza jakiegoś godnego człowieka, który, jak prezydent z Caen, zachował przy szpakowatych faworytach świeżą cerę i żywe oczy, takie jak ona lubiła, i który byłby natychmiast sygnalizował zbliżającej się soczewce małżeńskiej lornetki obecność tego niezwyklego zjawiska. I może przez nieświadomą obawę owej pierwszej minuty, o której wiemy, że jest krótka, ale która jest mimo to groźna — jak pierwsze zanurzenie się w wodzie — stara dama posyłała zawczasu lokaja, aby wtajemniczył hotel w jej personalia i jej obyczaje? I ignorując pokłony dyrektora, udawała się z pośpiechem, kryjącym więcej nieśmiałości niż dumy, do swego pokoju, gdzie jej prywatne firanki (w miejsce hotelowych), jej parawany, fotografie, wstawiały między nią a zewnętrzny świat, do którego trzeba by się dostosować, ściankę jej przyzwyczajzeń, tak że to raczej jej światek, w którego łonie pozostała, podróżował, niż ona sama...

Odtąd, pomieściwszy między sobą a personelem hotelowym i magazynami swoją służbę, która zamiast niej wchodziła w styczność z tą nową ludzkością i utrzymywała dokoła swej pani zwyczajną jej atmosferę; wstawiwszy między siebie a letników swoje przesady, nie troszcząc się o niechęć ludzi, których jej przyjaciółki nie wpuściłyby do domów, stara dama żyła dalej w swoim świecie przez korespondencję, przez wspomnienia, przez sekretną świadomość swojej sytuacji, swoich manier, swojej towarzyskiej kompetencji. I codziennie, kiedy schodziła, aby odbyć przejażdżkę własnym powozem, pokojówka niosąca za panią jej rzeczy, lokaj kroczący przed nią, wyglądali jak owe szyldwachy, które u bram ambasady strojnej flagami własnego kraju gwarantują jej na cudzoziemskim terenie przywilej eksterytorialności. W dniu naszego przybycia dama nie wyszła z pokoju aż dobrze popołudniu; toteż nie ujrzeliśmy jej w jadalni, dokąd dyrektor towarzyszył nam opiekuńczo jako nowo przybyłym w porze śniadania, niby „szarża” prowadząca rekrutów do wojskowego krawca. W zamian za to, ujrzeliśmy tam po chwili jakiegoś obywatela z córką, z mało znanej, lecz bardzo starej rodziny bretońskiej, pana i pannę de Stermaria, których stół nam oddano, myśląc, że wrócą aż wieczór. Przybywszy do Balbec jedynie po to, aby odwiedzać swoich znajomych właścicieli ziemskich w okolicy, państwo de Stermaria spędzali w jadalni jedynie czas ściśle konieczny, między wizytami w sąsiedztwie. Pycha chroniła ich od wszelkiej ludzkiej sympatii, od wszelkiego zainteresowania się osobami siedzącymi dokoła, wśród których pan de Stermaria zachowywał minę lodowatą, spieszącą się, odległą, szorstką, drażliwą i wrogą, jaką się ma w bufecie kolejowym wśród podróżnych, których się nigdy nie widziało i nigdy nie zobaczy, nie pojmując innych z nimi stosunków prócz tego, aby bronić swego zimnego kurczaka i kąta w wagonie.

Ledwie zaczęliśmy śniadanie, kazano nam wstać na żądanie pana de Stermaria, który właśnie przybył i który, bez najmniejszych ceremonii, bez uprzejmego gestu pod naszym adresem, poprosił głośno starszego kelnera, aby się podobna omyłka nie powtórzyła; jest mu bardzo nieprzyjemnie, aby „ludzie, których nie zna” zajmowali jego stół.

I z pewnością także nie żadna niechęć wchodziła w uczucie popychające pewną aktorkę (bardziej znaną zresztą ze swojej elegancji, dowcipu, pięknej kolekcji niemieckiej porcelany niż z paru ról w „Odeonie”), jej kochanka, bardzo bogatego człowieka, dla którego ona się ucywilizowała, oraz dwóch głośnych arystokratów, aby żyć swoim dworem, podróżować tylko z sobą, śniadać w Balbec bardzo późno, kiedy już wszyscy skończyli, i pędzić dni w swoim salonie przy karcianym stoliku. Pobudką tego był jedynie nawyk żartobliwej rozmowy, wyrafinowań kulinarnych, każący im znajdować przyjemność w tym, aby żyć i jadać tylko z sobą, i czyniący im czymś nieznośnym wspólne życie z „niewtajemniczonymi”. Nawet w obliczu nakrytego stołu lub przy stoliku karcianym, potrzebowali czuć, że w sąsiedzie lub partnerze spoczywa pewna choćby niezatrudniona w danej chwili wiedza, pozwalająca rozpoznać tandetę, którą tyle mieszkań paryskich stroi się jako „autentycznym średniowieczem” lub „renesansem”; że mają w każdej rzeczy wspólne kryteria dobrego i złego. Bez wątpienia, odrębna egzystencja, w jakiej grupa ta



wszędzie chciała pozostać zanurzona, objawiała się w owych momentach już tylko jakimś rzadkim dowcipem rzuconym przy stole czy przy kartach lub uroczą i nową suknią, jaką młoda aktorka włożyła do śniadania lub do partyjki pokera. Ale, spowijając ich tak w przyzwyczajenia znane im do gruntu, egzystencja ta wystarczała, aby ich chronić przed tajemnicą otaczającego życia. Przez długie popołudnia morze wisiało na wprost nich jedynie jako miłe w kolorze płótno, przybite do ściany w zamożnej garsonierze; co najwyżej w przerwach między rozdaniem kart któryś z graczy, nie mając nic lepszego do roboty, zwracał ku niemu oczy, aby sprawdzić pogodę lub godzinę i przypomnieć innym, że podwieczorek czeka. A wieczorem nie jedli obiadu w hotelu, gdzie elektryczne źródła łały strumienie światła w wielką jadalnię, zmienioną w ogromne i cudowne akwarium, przed którego szklaną ścianą robotnicza ludność Balbec, rybacy, a także rodziny drobnych mieszczan, cisnęli się za szybą, niewidzialni w cieniu, aby oglądać, wolno kołysane w złotych wirach, zbytkowne życie bogaczy, równie nadzwyczajne dla tej biedoty, co życie osobliwych ryb i mięczaków. (Wielka kwestia socjalna, to pytanie, czy szklana ściana zawsze będzie chroniła ucztę cudownych zwierząt i czy szarzy ludzie, patrzący chciwie z ciemności, nie przyjdą ich wyłowić w tym akwarium i zjeść). Na razie wśród ciżby stojącej i zgubionej w mroku, był może jaki literat, jaki miłośnik ludzkiej ichtiologii, który, patrząc na szczęki starych żeńskich potworów zamykające się na kawale pochłoniętej strawy, bawił się klasyfikowaniem ich wedle rasy, wedle cech wrodzonych, a także owych cech nabytych, które sprawiają, iż stara dama serbska, o typowej paszczy wielkiej ryby morskiej, je sałatę — ile że od dzieciństwa żyła w słodkich wodach Faubourg Saint-Germain — jak urodzona La Rochefoucauld.

O tej porze widywało się trzech mężczyzn w smokingach czekających na zapóźnioną towarzyszkę, która niebawem, w sukni prawie za każdym razem nowej i w szarfach dobranych wedle specjalnych gustów jej kochanka, zadzwoniwszy ze swego piętra na „lifta”, wychodziła z windy niby z pudełka z zabawkami. I wszyscy czworo, uważając, że międzynarodowy styl „Palace”, zaszczipiony w Balbec, raczej rozwinął tam zbytek niż dobrą kuchnię, pakowali się do powozu i jechali na obiad o pół mili stąd do renomowanej jadłodajni, gdzie odbywali z kucharzem nieskończone narady co do porządku menu i doboru dań. W czasie tej przeprawy, obsadzona jabłonią droga z Balbec mało się dla nich różniła w ciemnościach nocy od przestrzeni między ich paryskimi mieszkaniami a Café Anglais lub Tour d'Argent. Była dla nich jedynie odległością, którą trzeba było przebyć, zanim dotarli do wykwintnej knajpki, gdzie, podczas gdy przyjaciele bogatego młodzieńca zazdrościli mu dobrze ubranej kochanki, szarfy jej tworzyły dla małej gromadki niby zasłonę pachnącą i wiotką, ale odcinającą ich od świata.

Nieszczęściem dla mego spokoju, daleki byłem od natury wszystkich tych ludzi. Dbałem o opinię wielu z nich; byłbym pragnął nie być nicością dla mężczyzny o spleśzczonym czole, o spojrzaniu uciekającym między skórzanymi okularami jego przesądów i wychowania. Ów okoliczny magnat był nie kim innym jak szwagrem naszego pana Legrandin. Przybywał czasem z jakąś wizytą do Balbec, w niedzielę zaś cotygodniowe *garden party*, jakie wyprawiali oboje z żoną, wyludniało hotel z części jego mieszkańców, ponieważ paru z nich miało zaproszenie na tę fetę, inni zaś, aby się nie zdradzić, że ich nie proszono, obierali ten dzień na jakąś daleką wycieczkę. Pierwszego dnia zresztą spotkał się pan de Cambremer z bardzo lichym przyjęciem w hotelu, gdy świeżo przybyły z Jasnego Brzegu personel nie wiedział jeszcze, kim on jest. Nie tylko nie był ubrany w białą flanelę, ale, przez stary francuski obyczaj, pan de Cambremer, nieświadomy stylu „Palace”, wchodząc do hallu, gdzie były kobiety, zdjął od drzwi kapelusz, co sprawiło, iż dyrektor nawet nie dotknął swojego, aby mu oddać ukłon, oceniając, że to musi być ktoś najniższego pochodzenia, to co nazywał człowiekiem „wyrastającym z gminu”. Jedynie żona rejenta uczuła sympatię do nowo przybyłego, trącającego nadętą pospolitością ludzi dobrze urodzonych. Oznajmiła z nieomylną roztropnością oraz z bezapelacyjnym autorytetem osoby, dla której śmietanka miasta Mans nie ma tajemnic, że się w nim czuje człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego i odbijającego od całego towarzystwa w Balbec, które uważała za „niemożliwe” — o ile ona z nim nie żyła. Ten korzystny sąd, jaki rejentowa wydała o szwagrze pana Legrandin, wynikł może z szarego

wyglądu człowieka, który niczym nie onieśmiała, a może stąd, że w tym ziemianinie o wzięciu zakrystiana poznała masonskie znaki własnego klerykalizmu.

Na próżno dowiedziałem się, że młodzi ludzie jeżdżący co dnia konno są synami właściciela galanteryjnego sklepu, człowieka o wątpliwej reputacji, z którym mój ojciec nigdy nie zgodziłby się wejść w stosunki; „życie kąpielowe” zmieniało ich w moich oczach w konne posągi półbogów. Najwięcej, czegom się mógł spodziewać, to że nigdy nie zniżą swoich spojrzeń do mnie, biednego chłopca, który opuszczał jadalnię jedynie po to, aby usiąść na piasku. Byłbym chciał zdobyć sympatię nawet awanturnika władającego na bezludnej wysepce Oceanii, nawet młodego gruzlika; wierzyłem, że pod pozorami arogancji kryje on duszę nieśmiałą i tkliwą, która znalazłaby może dla mnie jednego skarby uczuć. Zresztą (na wspak temu, co się mówi zazwyczaj o znajomościach z podróży), jak pewne znajomości mogą nam użyczyć na plaży (dokąd wraca się czasem) prestiżu bez odpowiednika w prawdziwym życiu światowym, tak nie ma nic, co by się pielęgnowało równie troskliwie w Paryżu jak przyjaźnie z kąpielisk. Dbałem o opinię, jaką mogły mieć o mnie wszystkie te chwilowe lub lokalne znakomitości, które skłonność moja do wcielania się w innych ludzi i odtwarzania sobie ich stanu ducha kazała mi sytuować nie wedle ich prawdziwej rangi (tej, którą zajmowałyby na przykład w Paryżu i która byłaby bardzo niska), ale wedle tej, którą musieli sobie przypisywać i którą zajmowali istotnie w Balbec, gdzie brak wspólnej miary dawał im rodzaj względnej wyższości i swoistego uroku.

Niestety, wzgarda żadnej z tych osób nie była mi równie dotkliwa, co wzgarda pana de Stermaria. Zauważyłem bowiem, od pierwszego zjawienia się, jego córkę, jej ładną, bladą, błękitną prawie twarzyczkę, coś odrębnego w jej wysmukłej postawie, w chodzie, co mi słusznie przywodziło na myśl jej rasę, jej arystokratyczne wychowanie, tym wyraźniej, iż znałem jej nazwisko. Tak owe poematy muzyczne, wynalazek genialnych muzyków, wspaniale malują migotanie ognia, szum rzeki, ciszę wiejską — słuchaczowi, który, przejrawszy zawczasu komentarz przy programie, skierował swoją wyobraźnię we właściwym kierunku. Przydając wdziękom panny de Stermaria całą ideologię, „rasa” czyniła je czymś zrozumialszym i doskonalszym; czyniła je też czymś bardziej upragnionym, oznajmiając, że są trudno dostępne — jak wysoka cena przydaje wartości przedmiotowi, który się nam spodobał. I drzewo genealogiczne dawało tej cerze, będącej produktem wybranych soków, smak egzotycznego owocu lub słynnego gatunku wina.

Otóż przypadek dał nagle babce i mnie sposób zyskania w oczach mieszkańców hotelu bezpośredniego uroku. W istocie bowiem, pierwszego dnia, w chwili gdy stara dama wychodziła od siebie, urzekając oczy i dusze dzięki poprzedzającemu ją lokajowi, dzięki pannie służącej biegnącej za nią z zapomnianą książką i pledem, budząc ciekawość i szacunek (od których najoczywiściej mniej niż ktokolwiek wolny był pan de Stermaria), dyrektor pochylił się ku babce i przez uprzejmość (tak jak się pokazuje szacha perskiego lub królową Ranavallo szaremu człowiekowi, który nie może mieć oczywiście żadnych stosunków z potężnym monarchą, ale może być rad, że go oglądał z bliska) wsączył jej do ucha: „Margrabina de Villeparisis”, gdy równocześnie dama ta, widząc babkę, nie mogła powstrzymać wyrazu radoszej niespodzianki.

Można sobie wyobrazić, iż nagłe zjawienie się, pod postacią drobnej staruszki, najpotężniejszej z wrózek, nie byłoby mi sprawiło więcej przyjemności — mnie, ogołoconemu z wszelkiego sposobu zbliżenia się do panny de Stermaria, w miejscowości, gdzie nie znał nikogo. Rozumiem „nikogo” z praktycznego punktu widzenia. Biorąc estetycznie, ilość typów ludzkich jest zbyt ograniczona, aby się nie miało bardzo często, w jakimkolwiek miejscu, radości oglądania ludzi znajomych, nawet nie szukając ich na obrazach starych mistrzów, jak to czynił Swann. I tak w pierwszych dniach pobytu zdarzyło mi się spotkać Legrandina, odźwiernego Swannów, oraz samą panią Swann — pierwszego pod postacią kelnera z kawiarni, drugiego w sylwetce jakiegoś przejeźdnego, któregom już nie ujrzał, a trzecią w osobie kąpielowego. I jakiś magnetyzm przyciąga i sprzęga pewne fizyczne i duchowe cechy tak nierozdzielnie, że kiedy natura wprowadza w ten sposób jakąś osobę w nowe ciało, nie okalecza jej zbyt. Legrandin, zmieniony w kelnera, zachował bez uszczerbku swoją postawę, profil i część podbródka; pani Swann, w osobniku płci męskiej i w profesji kąpielowego, ocaliła nie tylko swoją fizjonomię, ale poniekąd i sposób mówienia. Tylko że, przewiązana czerwonym pasem i wznosząca przy lada burz-

liwszym morzu chorągiew wzbraniającą kąpeli (bo kąpielowi są ostrożni, rzadko umiejąc pływać), nie więcej mogłaby mi być użyteczna niż na fresku z *Życia Mojżesza*, gdzie Swann poznał ją niegdyś w rysach córki Jethra. Ta margrabina de Villeparisis natomiast była całkiem prawdziwa; nie była ofiarą czarów, które ją odarły z potęgi, ale, przeciwnie, mogła oddać te czary na usługi mojej władzy, mnożąc ją stokrotnie, dzięki czemu, jak gdyby niesiony na skrzydłach bajecznego ptaka, miałem przebyć w parę chwil nieskończone — przynajmniej w Balbec — odległości socjalne, dzielące mnie od panny de Stermaria.

Nieszczęściem, jeżeli była istota bardziej od kogokolwiek zamknięta we własnym świecie, to była nią moja babka. Nie gardziła mną nawet, wprost nie byłaby mnie zrozumiała, gdyby wiedziała, że ja przywiązuję wagę do opinii, że się interesuję osobami, których istnienia ona nawet nie spostrzegęła i których nazwiska nie miała spamiętać, opuszczając Balbec. Nie śmiałem jej wyznać, że gdyby ci sami ludzie widzieli ją rozmawiającą z panią de Villeparisis, sprawiłoby mi to wielką przyjemność, bom czuł, że margrabina ma mir w hotelu i że jej przyjaźń postawiłaby nas w oczach pana de Stermaria. Nie aby przyjaciółka mojej babki wyobrażała dla mnie bodaj trochę osobę z arystokracji; nazbyt przywykłem do jej nazwiska, z którym oswoiły się moje uszy, zanim umysł się nad nim zastanowił, kiedy w dzieciństwie słyszałem, jak je wymawiano w domu; a tytuł jej przydawał nazwisku jedynie dziwaczną osobliwość, coś niby mało używany przedimek, jak się dzieje z nazwami ulic: w ulicy Lorda Byrona, w tak popularnej i pospolitej ulicy Rochecouarta lub w ulicy de Gramonta nie widzimy nic szlachetniejszego niż w ulicach Léonce-Reynaud lub Hipolyte'a Lebas. Pani de Villeparisis nie bardziej budziła we mnie wyobrażenie osoby ze specjalnego świata niż kuzyn jej Mac-Mahon, którego nie odróżniałem zbyt od pana Carnot, prezydenta Republiki jak i on, i od Raspaila, którego fotografię Franciszka kupiła razem z fotografią Piusa IX.

Babka wyznawała zasadę, że w podróży nie powinno się zawierać stosunków, że nie po to się jedzie nad morze, aby widywać ludzi, że na to jest dość okazji w Paryżu, że na grzeczności i banalności strwoniloby się szacowny czas, który trzeba całkowicie spędzić na powietrzu, nad wodą. Uważając za wygodniejsze przypuszczać, że cały świat dzieli ten pogląd, uprawniający między starymi przyjaciółmi, których przypadek sprowadził do jednego hotelu, fikcją wzajemnego incognita, na dźwięk nazwiska, które jej wymienił dyrektor hotelu, poprzestała na odwróceniu oczu i udawała że nie widzi pani de Villeparisis, która rozumiejąc, iż babka nie ma ochoty odnawiać znajomości, puściła również wzrok w przestrzeń. Oddaliła się, a ja zostałem w swoim odosobnieniu, niby rozbitek, do którego zdawał się zbliżać statek, aby następnie zniknąć, nie zatrzymawszy się.

Margrabina jadła także we wspólnej sali, ale na drugim końcu. Nie знаła nikogo z osób mieszkających w hotelu lub zjawiających się z wizytą, nawet pana de Cambremer; w istocie, ujrzałem, że on się jej nie kłania, gdy pewnego dnia przybył z żoną na śniadanie na zaprosiny dziekana. Ten, pijany szczęściem, że ma tak dobrze urodzonego gościa, unikał swoich codziennych przyjaciół i poprzestawał na mrugnięciu do nich z daleka, czyniąc do tego historycznego wydarzenia aluzję na tyle dyskretną, aby jej nie można było sobie tłumaczyć jako zachętę do zbliżenia się.

— No i co, widzę, że pan sobie nie żałuje, pływa pan w elegancji — rzekła wieczorem do dziekana żona prezydenta.

— W elegancji, czemu? — spytał dziekan, ukrywając swoją radość pod przesadnym zdziwieniem — z powodu moich gości? — rzekł, czując, że niezdolny jest udawać dłużej. — Cóż w tym za elegancja, zjeść śniadanie z przyjaciółmi? Muszą przecież gdzieś zjeść.

— Ależ tak, to wielki świat! To są państwo de Cambremer, prawda? Zaraz ich poznałam. To margrabina. I autentyczna. Nie kąpielowa.

— Och, to kobieta bardzo prosta, uroczą, nie sposób mniej robić z sobą ceremonii. Myślałem, że państwo się przysiadzicie, dawałem znaki... byłbym państwa przedstawił! — rzekł, poprawiając lekką ironią niesłychaność tej propozycji, jak Ahaswrus, kiedy powiada do Estery: „Mamże ci stanów swoich ustąpić połowę?”

— Nie, nie, nie, nie, my wolimy zostać w ukryciu jak skromny fiołek.

— Ależ źle państwo robicie, ręczę wam — odparł dziekan śmiejąc się teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło. — Nie zjedliby was. No i co, zrobimy małego bezika?

— Bardzo chętnie, nie śmieliśmy panu proponować, teraz kiedy pan podejmuje margrabiny!

— Och, daj pani pokój, nie ma w nich nic tak nadzwyczajnego. Ot, mam tam być na obiedzie jutro. Chcecie państwo iść zamiast mnie? Mówię to z całego serca. Szczerze powiadam, najchętniej pozostałbym tutaj.

— Nie, nie!... spensjonowanoby mnie jako reakcjonistę — wykrzyknął prezydent, śmiejąc się do łez ze swego konceptu. — Ale pan też bywa w Féterne — dodał, zwracając się do rejenta.

— Och, bywam tam w niedziele, wchodzi się jednymi drzwiami, wychodzi się drugimi. Ale nie bywają u mnie na śniadaniu, jak u naszego dziekana.

Pana de Stermaria nie było tego dnia w Balbec, ku wielkiemu żalowi dziekana, który rzekł podstępnie do starszego kelnera:

— Aimé, mógłbyś powiedzieć panu de Stermaria, że nie jest jedynym „dobrze urodzonym” w tej sali. Widziałeś tego pana, który jadł ze mną śniadanie dziś rano? He? Ten mały wąsik, mina wojskowa? I co ty powiesz, to jest margrabia de Cambremer.

— Doprawdy? A, to mnie nie dziwi!

— Niech się pan de Stermaria dowie, że nie on jeden ma tytuł. Pójdzie mu po nosie. Nieźle jest dać małego prztyczka tym pansom. Aimé, nie mów mu nic, jeśli wolisz, ja nie mówię tego dla siebie; zresztą on go zna dobrze.

I nazajutrz pan de Stermaria, który wiedział, że dziekan bronił sprawy jednego z jego przyjaciół, podszedł, aby mu się przedstawić.

— Nasi wspólni przyjaciele de Cambremer chcieli właśnie nas spiknąć, dni się jakoś nie schodziły, sam już nie wiem co — rzekł dziekan, który, jak wielu kłamców, wyobrażał sobie, że nikt nie będzie się starał wyświecić nieznaczącego szczegółu, który wszelako wystarcza (jeżeli przypadek da wam w rękę skromną rzeczywistość, będącą z nim w sprzeczności), aby zdemaskować człowieka i obudzić wieczną doń nieufność.

Jak zawsze, patrzałem na pannę de Stermaria, ale swobodniej niż zwykle, podczas gdy jej ojciec odszedł, aby rozmawiać z dziekanem. Śmiała i zawsze piękna oryginalność jej póż — kiedy na przykład z łokciami na stole podnosiła kieliszek, oschłość szybko znużonego spojrzenia, jakaś rodowa twardość, która raziła moją babkę, a którą czuło się, ledwie zamaskowaną indywidualnymi akcentami, w jej głosie; jakiś atawistyczny hamulec działający w chwili, gdy spojrzeniem lub intonacją zdradziła własną myśl — wszystko to sprowadzało myśl tego, co na nią patrzył, do rasy, która jej przekazała tę oschłość, te luki wrażliwości — jak gdyby skąpstwo materii, niedostającej co chwilę. Ale na tak szybko wysychającym tle jej źrenic błyskały chwilami spojrzenia, w których czuło się ową niemal pokorną słodycz, jaką dominująca zmysłowość daje nawet najdumniejszej, każąc jej niebawem uznawać już tylko jeden urok. Ten urok ma w jej oczach wszelka istota zdolna jej dostarczyć pewnych wzruszeń, choćby to był aktor lub linoskoczek, dla którego rzuci może kiedyś męża. Z pewnego odcienia zmysłowej i żywej różowości, która rozkwitała na jej bladych licach, podobna tej, co barwiła swoim karminem serce lilii wodnych na Vivonne, miałem uczucie, że ona łatwo by pozwoliła, abym poszukał w niej smaku owego tak poetycznego życia, jakie wiodła w Bretanii, życia, którego czy to przez zbyt z nim oswojenie, czy przez wrodzoną dystynkcję, czy przez wstręt do ubóstwa lub skąpstwa swojej rodziny, nie zdawała się zbyt cenić, ale którym ciałem jej było jakby nasiąknięte. W skromnym zasobie odziedziczonej woli, który dawał wyrazowi jej twarzy coś tchórzliwego, nie znalazłaby może energii oporu. I szary filcowy kapelusz, jaki zawsze miała przy stole, strojny niemodnym trochę i pretensjonalnym piórem, czynił mi ją słodsza nie dlatego, że harmonizował z jej srebrną i różową cerą, ale że zbliżał do mnie ją samą, pozwalając mi wnosić, że jest uboga.

Zmuszona obecnością ojca do zachowywania konwenansów, ale już odmiennie szacując i klasyfikując oglądane osoby, panna de Stermaria widziała może we mnie nie nikłą pozycję, lecz pleć i wiek. Gdyby któregoś dnia ojciec zostawił ją samą, gdyby zwłaszcza pani de Villeparisis, przysiadłszy się do naszego stołu, dała jej o nas opinię zdolną ośmielić mnie do zbliżenia się, może udałoby się nam wymienić kilka słów, umówić się na kiedyś, zapoznać się bliżej. I pewnego miesiąca, kiedy by ona została sama bez rodziców w swoim romantycznym dworzyszczu, udałoby się nam może przechadzać wieczór sam na sam o zmierzchu, w którym czerwone wrzosa łagodniej błyszcząłyby nad ściemniałą wodą, pod dębami trącanymi pluskiem fal. Razem przebiegalibyśmy wyspę, nasyconą

dla mnie takim czarem przez to, że zamykała zwyczajne życie panny de Stermaria i że spoczywała w pamięci jej oczu. Bo wydawało mi się, że mógłbym ją naprawdę posiadać tylko tam, przebywszy miejsca spowijające ją w tyle wspomnień. Była to niby zasłona, którą pragnienie moje chciało zerwać, z rodzaju tych, jakie natura mieści między kobietą a pewnymi osobnikami, iżby, omamieni żłudą pełniejszego posiadania tej kobiety, musieli wprzód przyswoić sobie krajobrazy, w których ona żyje i które, owocniejsze dla ich wyobraźni od rozkoszy zmysłowych, nie wystarczyłyby jednak bez tej rozkoszy, aby ich przyciągnąć. W podobnej intencji natura pomieściła dla wszystkich ludzi akt płodzenia między nimi a najwyższą rozkoszą lub dla owadów umieszcza przed nektarem pyłek, który mają przenieść.

Ale musiałem odwrócić oczy od panny de Stermaria. Uważając zapewne, że znajomość z wybitną osobistością jest to akt interesujący i krótki, który wystarcza sam sobie i który, dla rozwinięcia całej zawartej w nim treści wymaga jedynie uścisku dłoni i bystrego rzutu oka bez następstwa rozmowy i późniejszych stosunków, ojciec jej pożegnał się z dziekanem i usiadł z powrotem na wprost córki, zacierając ręce jak człowiek, który zrobił cenny nabytek. Co się tyczy dziekana, skoro pierwsze wzruszenie tą znajomością minęło, słyszeliśmy go czasem, jak w inne dni, mówiącego do starszego kelnera:

— Ależ ja nie jestem królem, Aimé, idźże do króla; słuchaj pan, prezydencie, to bardzo apetycznie wygląda, te małe pstrągi, musimy o nie poprosić naszego Aimé. Aimé, to mi się wydaje bardzo godne polecenia, te rybki, które tam masz; przyniesiesz nam ich, Aimé, a obficie.

Powtarzał co chwilę imię „Aimé”, co sprawiało, że kiedy miał kogoś na obiedzie, gość powiadał: „Widzę, że pan jest tutaj całkiem zadomowiony”, i uważał także za swój obowiązek powtarzać wciąż „Aimé” wskutek tego stanu ducha — mającego coś z nieśmiałości, pospolitości i głupstwa zarazem — jaki niektórym osobom każe sobie wyobrażać, że niewolnicze naśladowanie ludzi, z którymi się przebywa, jest dowodem dowcipu i elegancji. Powtarzał to bez ustanku, ale z uśmiechem, bo chciał zarazem okazać swoje dobre stosunki z kelnerami i swoją nad nimi wyższość. A kelner, za każdym powtórzeniem swego imienia, również uśmiechał się z rozczuleniem i dumą, okazując, że czuje zaszczyt i rozumie żart.

Jeżeli posiłki w tej wielkiej restauracji hotelowej, zazwyczaj pełnej, onieśmiały mnie zawsze, potęgowało się to jeszcze, kiedy przybywał na kilka dni właściciel (lub generalny dyrektor, wybrany przez akcjonariuszy, sam nie wiem) nie tylko tego hotelu, ale siedmiu czy ośmiu innych, położonych w czterech stronach Francji. Wędrując tak z hotelu do hotelu, spędzał periodycznie w każdym z nich jakiś tydzień. Wówczas, gdy już miano podawać do obiadu, zjawiał się co wieczór u wejścia do jadalni ten mały siwy człowieczek z czerwonym nosem, niewzruszony i poprawny do ostatnich granic, znany, jak się zdaje, równie dobrze w Londynie jak w Monte Carlo jako jeden z pierwszych hotelarzy w Europie. Raz, kiedy wyszedł na chwilę z początkiem obiadu i wracając przechodziłem koło niego, oddał mi chłodny ukłon, z którego nie mogłem zgadnąć, czy przyczyną tego chłodu jest godność człowieka niezapominającego, czym jest, czy pogarda dla podrzędnego klienta. Innym, wartościowszym, generalny dyrektor kłaniał się równie chłodno, ale głębiej, z powiekami spuszczoneymi z odcieniem wstydliwego szacunku, tak jakby miał przed sobą ojca nieboszczki na pogrzebie, albo Przenajświętszy Sakrament. Poza tymi lodowatymi i rzadkimi ukłonami, nie czynił najlżejszego ruchu, jakby dla okazania, że jego błyszczące oczy, zdające się wychodzić z twarzy, widzą wszystko, kierują wszystkim, zapewniając „obiadowi w Grand Hotelu” zarówno wykończenie szczegółów jak harmonię całości. Czuł się wyraźnie czymś więcej niż reżyserem, niż kapelmistrzem, czuł się prawdziwym generalissimusem. Uznawszy, iż kontemplacja doprowadzona do szczytu skupienia, wystarczy mu dla upewnienia się, że wszystko jest gotowe i bezbłędne, i dla wzięcia wreszcie odpowiedzialności, wstrzymywał się nie tylko od wszelkiego gestu, ale nawet od drgnienia oczu skamieniałych uwagą, oczu ogarniających całokształt czynności i kierujących nimi. Czułem, że nawet ruchy mojej łyżki nie uchodzą bacności generalnego dyrektora, i choćby znikł zaraz po zupie, ta jego rewia odbierała mi apetyt na cały obiad. On sam miał apetyt doskonały, jak można było stwierdzić przy śniadaniu, które spożywał jak zwykły gość, przy takim samym stoliku jak wszyscy, w jadalni. Jego stół miał tylko tę właściwość, że gdy on jadł, drugi dyrektor, ów codzienny, stał cały czas,

zabawiając zwierzchnika rozmową. Bo, będąc podwładnym generalnego dyrektora, starał się mu schlebiać i bał się go bardzo. Co do mnie, mniej się go bałem w czasie tych śniadań, wmieszany bowiem między klientów, miał tę dyskrecję, aby nie okazywać, że się nimi zajmuje, niby generał siedzący w restauracji, gdzie są i zwykli żołnierze. Mimo to, kiedy portier, otoczony swymi „strzelcami” oznajmiał mi: „Stary jedzie jutro do Dinard, stamtąd do Biarritz, a potem do Cannes”, oddychałem swobodniej.

Życie moje w hotelu było nie tylko smutne, bo nie miałem znajomości, ale niewygodne, bo Franciszka zawiązała ich mnóstwo. Zdawałoby się, że powinny by nam ułatwić wiele rzeczy. Wręcz przeciwnie. O ile proletariusze mieli pewną trudność w dostąpieniu tego, aby Franciszka uznała ich za znajomych i mogli to osiągnąć jedynie za cenę szczególnej uprzejmości, o tyle, skoro raz to uzyskali, byli jedynymi ludźmi, którzy się liczyli dla niej. Jej *savoir vivre* uczył Franciszkę, że nie jest do niczego zobowiązana wobec przyjaciół swoich państwa; że może, o ile się jej spieszy, splawić damę, która przyszła z wizytą do babki. Ale w stosunku do jej własnych znajomych, to znaczy rzadkich osób z ludu dopuszczonych do jej niełatwej przyjaźni, postępki jej regulował najsubtelniejszy i najbezwzględniejszy ceremoniał. I tak Franciszka, zapoznawszy się z kawiarnikiem i z pokojówką sporządzającą suknie dla pewnej belgijskiej damy, nie przychodziła oczyścić rzeczy babki zaraz po śniadaniu, ale aż w godzinę później, bo kawiarnik zaprosił ją na kawę albo na kwiat lipowy do kawiarni, a pokojówka prosiła ją, aby jej asystowała przy szyciu. Odmówić im byłoby rzeczą niemożliwą, rzeczą, której się nie robi! Zresztą, należały się szczególne względy pokojówce, która była sierotą, wychowaną u obcych, gdzie spędzała niekiedy kilka dni. Los ten budził litość Franciszki, jak również jej życzliwe lekceważenie. Ona, która miała rodzinę, domek po rodzicach, gdzie jej brat chował kilka krów, nie mogła takiej przybłądy uważać za równą sobie. Że zaś dziewczyna ta zamierzała 15 sierpnia odwiedzić swoich dobroczyńców, Franciszka powtarzała cały czas:

— To doprawdy śmiechu warte. Powiada: „Wybieram się do domu na 15 sierpnia”. Do domu, ona powiada! To nawet nie są jej strony, to tylko ludzie, które ją przygarnęły, i ta powiada: „u siebie”, tak jakby naprawdę była u siebie. Biedna dziewczyna! Cóż to za nędzne życie. Żeby nawet nie wiedzieć, co jest dom!

Ale gdyby jeszcze Franciszka przyjaźniła się tylko z prywatnymi pokojówkami, które jadały z nią w „kredensie” i które, wnosząc z jej pięknego koronkowego czepek i szlachetnego profilu, brały ją może za jakąś dystygowaną osobę, zmuszoną wskutek nieszczęść lub skłonioną przez przywiązanie do tego, aby służyć za damę do towarzystwa mojej babce, słowem gdyby Franciszka знаła jedynie ludzi nienależących do hotelu, nie byłoby w tym zbyt wielkiego nieszczęścia. Nie mogłaby nas pozbawiać ich usług, z tej prostej przyczyny, że w żadnym wypadku, nawet gdyby ich nie znała, nie zdaliby się nam na nic. Ale ona się zaprzyjaźniła również z szafarzem, z kuchcikiem i z pokojową z hotelu. W dniu swego przybycia, kiedy Franciszka nie znała jeszcze nikogo, dzwoniła na wszystkie strony o najmniejszą rzecz, w godzinach, w których babka i ja nie odważylibyśmy się tego uczynić, a jeżeliśmy jej zrobili jaką uwagę, odpowiadała: „Dosyć drogo płaci się za to”, tak jakby to ona płaciła. Ale teraz, od czasu jak się zaprzyjaźniła z personelem (co nam się zdawało dobrą wróżbą dla naszej obsługi), kiedy babce lub mnie było zimno w nogi, Franciszka, choćby to była godzina zupełnie normalna, nie śmiała zadzwonić: upewniała, że to byłoby źle widziane, bo trzeba by na nowo palić w piecu lub zakłóciłoby obiad służby, budząc w kredensie niezadowolnienie. I kończyła zwrotem, który mimo niepewnego sposobu, w jaki go wymawiała, niemniej był dosyć jasny i stanowczo rozstrzygał rzecz na naszą niekorzyść: „Faktycznie...”. Nie nalegaliśmy z obawy, aby się nie narwać na inny zwrot, o wiele poważniejszy: „To niewidziane rzeczy...”. Tak iż w rezultacie nie mogliśmy już mieć gorącej wody, dlatego że Franciszka zaprzyjaźniła się z osobą, która ją grzała.

W końcu i my zawiązaliśmy znajomość, przez babkę, choć mimo jej woli, kiedy obie z panią de Villeparisis wpadły na siebie w drzwiach i musiały się przywitać nie bez uprzedniej wymiany gestów zdumienia, wahania, cofań się, powątpiewań i w końcu okrzyków uprzejmości i radości, jak w niektórych sztukach Moliera, gdy dwaj aktorzy, monologujący długo każdy w swoją stronę, o kilka kroków od siebie, niby to nie widzą się wzajem i nagle spostrzegają się, nie wierzą swoim oczom, wpadają sobie w słowo, w końcu mówią obaj naraz — niby chór po dialogu — i rzucają się sobie w objęcia. Przez delikatność pani de Villeparisis chciała po chwili pożegnać babkę, która, przeciwnie, starała się ją

zatrzymać aż do śniadania, pragnąc się dowiedzieć, jak ona robi, aby mieć pocztę wcześniej od nas i dobre pieczyście. (Pani de Villeparisis, wielka smakoszka, niezbyt gustowała w kuchni hotelowej, gdzie nam zastawiano biesiady, które babka, zawsze cytując panią de Sévigné, określała jako „tak wspaniałe, że można było umrzeć z głodu”). I margrabina przywykła podchodzić do nas co dzień, zanim jej podadzą, siadać na chwilę koło nas w jadalni, nie pozwalając, abyśmy wstawali i krępowali się w czymkolwiek dla niej. Co najwyżej, zostawaliśmy dłużej, gawędząc z nią po śniadaniu, w owym niechlujnym momencie, gdy noże walają się na obrusie obok pomiętych serwet.

Co do mnie, aby zachować — dla miłości Balbec — myśl, że jestem na krańcu ziemi, siliłem się patrzeć dalej, widzieć tylko morze, szukać na nim efektów opisanych przez Baudelaire’a. Jeżeli zniżał spojrzenia na nasz stół, to chyba w dniu, gdy zjawiała się na nim jakaś wielka ryba, potwór morski, który, na przekór nożom i widelcom, współczesny był pierwotnym epokom, kiedy życie zaczynało się roić w oceanie, w czasach Cymeryjczyków, i którego ciało o niezliczonych kręgach, unerwione błękitno i różowo, stworzone było przez naturę, ale z architektonicznym planem, niby polichromowana katedra morza.

Jak fryzjer, widząc, iż oficer obsługiwany szczególnie troskliwie, poznaje jakiegoś wchodzącego klienta i zawiązuje z nim rozmowę, cieszy się, zgadując, że ci dwaj goście są z jednego świata, i idąc po miseczkę z mydłem, nie może się wstrzymać od uśmiechu, świadom, iż w jego zakładzie do pospolitych funkcji salonu fryzjerskiego dołączają się przyjemności towarzyskie, ba, arystokratyczne, tak Aimé, widząc, iż pani de Villeparisis odnalazła w nas dawnych znajomych, szedł po nasze płukanki z tym samym dumnie skromnym i świadomie dyskretnym uśmiechem gospodyni domu, umiejącej się usunąć w porę. Można by także rzec: szczęśliwy i rozczulony ojciec, który, nie mącąc swobody, czuwa nad szczęściem zaręczyn nawiązanych przy jego stole. Zresztą wystarczyło wymówić nazwisko osoby utytułowanej, aby Aimé wydawał się szczęśliwy, w przeciwieństwie do Franciszki, wobec której nie można było powiedzieć „hrabia taki a taki”, aby jej twarz nie zachmurzyła się, a mowa nie stała się sucha i urywana, co oznaczało, iż kocha szlachtę nie mniej niż Aimé, lecz więcej. Bo Franciszka miała przymiot, który uważała u innych za największą wadę: była dumna. Nie była z łatwej i dobrodusznej rasy, do której należał Aimé. Tacy odczuwają i objawiają żywą przyjemność, kiedy im opowiadać fakt, mniej lub więcej zabawny, ale nieznan, którego nie ma w dzienniku. Franciszka nie lubiła mieć miny zdziwionej. Można by powiedzieć przy niej, że arcyksiążę Rudolf, którego istnienia nigdy nie podejrzewała, nie umarł — jak to uchodziło za fakt — ale żyje, a byłaby odpowiedziała: „No pewnie”, tak jakby o tym wiedziała od dawna. Można zresztą przypuszczać, że skoro nawet z naszych ust, od nas, których nazywała tak pokornie „swoim państwem” i którzyśmy ją ujarzмили niemal zupełnie, nie mogła słyszeć bez odruchu irytacji szlacheckiego nazwiska, musiała widać jej rodzina zajmować w swojej wiosce dostatnią i niezależną pozycję, może zagrożoną w szacunku ludzkim jedynie przez tę właśnie szlachtę. Taki Aimé, przeciwnie, służył od dziecka w pańskim domu jako lokaj, o ile nie chował się w nim z litości. Wobec Franciszki tedy pani de Villeparisis musiała okupić to że jest szlachcianką. Ale, we Francji przynajmniej, to właśnie stanowi talent — i jedyne zatrudnienie — wielkich panów i wielkich dam. Franciszka, ulegając zwykłej skłonności służby, która zbiera bez ustanku co do stosunków swoich państwa z innymi osobami cząstkowe spostrzeżenia, wyciągając z nich niekiedy mylne wnioski, jak czynią ludzie co do życia zwierząt, uważała co chwila, że ktoś nam „uchylił”; konkluzja, do której zresztą łatwo ją doprowadzała zarówno jej nadmierna miłość do nas, co przyjemność, jaką znajdowała w tym, aby nam powiedzieć coś przykrego. Ale stwierdziwszy ponad wszelką wątpliwość tysiąc względów, jakimi otaczała nas i ją samą pani de Villeparisis, Franciszka wybaczyła jej, że jest margrabinią; że zaś nigdy nie przestała jej szanować za to, że nią jest, wyróżniła ją wśród wszystkich naszych znajomych. Bo też nikt nie silił się być wciąż tak uprzejmy. Za każdym razem, kiedy babka zwróciła uwagę na książkę, którą pani de Villeparisis czytała, kiedy pochwaliła owoce przysłane margrabinie przez przyjaciółkę, w godzinę potem wchodził lokaj, doręczając nam książkę lub owoce. I później, kiedyśmy się spotkali, w odpowiedzi na nasze podziękowania, pani de Villeparisis mówiła po prostu tak, jakby szukała uzasadnienia swego daru w jakiejś jego specjalnej użyteczności: „To nie jest arcydzieło, ale dzienniki przychodzą tak późno, że trzeba coś mieć do czytania”. Albo: „Zawsze bezpieczniej jest nad morzem mieć owoce, których się jest pewnym”.

— Ale mnie się zdaje, że państwo nigdy nie jadacie ostryg — rzekła pani de Villeparisis (pomnażając wrażenie wstrętu, jakie miałem do nich w owej epoce, bo żywe ciało ostryg brzydziło mnie jeszcze bardziej niż oślizgłość meduz kalala mi plażę Balbec) — wyborne są na tym wybrzeżu! A, powiem pokojowej, aby zabierała pani listy równocześnie z moimi. Jak to, córka pisze do pani co dzień? Ale co panie możecie sobie mieć do powiedzenia?

Babka zamilkła, ale można przypuszczać, że to uczyniła przez wzgardę, ona, która powtarzała — stosując je do mamy — słowa pani de Sévigné: „Skoro dostanę list, chciałabym natychmiast mieć drugi, żyję tylko tym. Mało kto godny jest zrozumieć to, co ja czuję”. I bałam się, aby nie zastosowała do pani de Villeparisis konkluzji: „Szukam osób będących z tej niewielkiej liczby, unikam innych”. Babka odmieniła rozmowę, dziękując po prostu za owoce, które pani de Villeparisis przysłała nam poprzedniego dnia. Były w istocie tak piękne, że dyrektor, mimo iż zawistny o swoje wzgardzone kłosze z owocami, rzekł: „Ja jestem jak państwo, bardziej jestem łaskawy na owoce niż na wszelkie inne wety”. Babka oświadczyła przyjaciółce, że oceniła dar tym bardziej, iż owoce podawane w hotelu były przeważnie okropne.

— Nie mogę — dodała — rzec jak pani de Sévigné, że gdyby nam przyszedł kaprys na lichy owoc, musielibyśmy go sprowadzać z Paryża.

— A, kochana pani czyta panią de Sévigné. Widzę panią od pierwszego dnia z jej listami w ręku. — (Margrabina zapomniała, że jakoby nie widziała babki w hotelu przed owym spotkaniem w drzwiach). — Czy pani nie uważa, że jest trochę przesady w tej ciągłej trosce o córkę; za wiele o tym mówi, aby to mogło być szczere. Brak jej naturalności.

Babka uznała dyskusję za bezcelową i aby uniknąć mówienia o rzeczach drogich sobie z osobą niezdolną ich zrozumieć, ukryła pod torebką *Pamiętniki pani de Beausegent*.

Kiedy pani de Villeparisis spotkała Franciszkę w momencie (Franciszka nazywała go „południem”), kiedy, wystrojona w piękny czepek i otoczona powszechnym szacunkiem, schodziła na śniadanie do „kredensu”, margrabina zatrzymywała ją, aby spytać o nas. Franciszka, przekazując nam jej zlecenie: „Powiedziała: proszę im pięknie życzyć dobrego południa”, udawała głos pani de Villeparisis, myśląc, że powtarza wiernie jej słowa, które zniekształcała nie mniej niż Platon Sokratesa lub święty Jan słowa Jezusa. Franciszka była głęboko wzruszona względami margrabiny. Co najwyżej nie dowierzała i myślała, że babka kłamie przez solidarność klasową (ludzie bogaci popierają się między sobą), upewniając, iż pani de Villeparisis była niegdyś przesłiczna. Prawda, że z tego zostały bardzo nikłe resztki, z których aby odtworzyć zniweczoną piękność trzeba by być większym artystą niż Franciszka. Bo aby zrozumieć, jak bardzo stara kobieta mogła być ładna, trzeba nie tylko patrzeć, ale tłumaczyć każdy rys.

— Muszę się jej spytać kiedy, czy ja się mylę lub czy jest jakieś pokrewieństwo między nią a Guermantami — rzekła babka, budząc tym moje zgorznienie. Jak mógłbym wierzyć we wspólność pochodzenia między dwoma nazwiskami, z których jedno wniknęło we mnie niską i wstydliwą bramą doświadczenia, a drugie złotą bramą wyobraźni?

Od kilku dni widywało się często przejeżdżającą we wspaniałym ekwipażu wielką, rudą, piękną panią o dość wydatnym nosie. Była to księżna de Luxembourg; przybyła na kilka tygodni w te strony na wilegiaturę. Powóz zatrzymał się przed hotelem, lokaj zszedł, aby pomówić z dyrektorem, wrócił do powozu i wyniósł cudowne owoce, kojarzące w jednym koszyku, jak sama zatoka, różne pory roku. Do owoców dołączono bilet: „Księżna de Luxembourg”, z kilkoma słowami skreślonymi ołówkiem. Dla jakiego dostojnego gościa bawiącego tu incognito mogły być przeznaczone te śliwki, granatowe, lśniące i sferyczne tak jak sferyczna była w tej chwili krągłość morza, te przezroczyste winogrona wiszące na wyschłej lodydze niby jasny dzień jesienny, gruszki barwiące się niebiańską ultramaryną? Bo przecież nie przyjaciółce babki księżna chciała złożyć wizytę. A jednak nazajutrz wieczór pani de Villeparisis przesała nam winne grono świeże i złociste oraz śliwki i gruszki, które poznaliśmy również, mimo że śliwki przeszły, jak morze w godzinie obiadu, w kolor lila, a ultramarynę gruszek zmąciło swoim zarysem parę różowych chmur. W kilka dni potem spotkaliśmy panią de Villeparisis wychodzącą z symfonicznego koncertu, który odbywał się rano na plaży. Przekonany, że dzieła, które tam słyszałem (preludium z *Lohengrina*, uwertura z *Tannhäusera* itd.) wyrażają najwyższe



prawdy, starałem się wznieść do nich, ile było w mej mocy; aby je zrozumieć, dobywałem z siebie i oddawałem im wszystko, co kryłem wówczas w sobie najlepszego, najgłębszego.

Otóż, wyszedłszy z koncertu i wracając do domu, zatrzymaliśmy się chwilę, aby wymienić kilka słów z panią de Villeparisis, która oznajmiła babce i mnie, że zamówiła dla nas w hotelu *croque monsieur* i jajka ze śmietaną. W tej chwili ujrzałem z dala zbliżającą się ku nam księżnę de Luxembourg, wspierającą się na parasolce, tak iż lekkim pochylemieniem dużego i wspaniałego ciała kresliła ów arabesk tak drogi pięknościom z epoki Cesarstwa, które umiały, opuszczając ramiona, ściągając plecy, wciągając biodro i napi-nając nogę, dać swemu ciału bujać miękko niby fular dokoła niewidzialnego i skośnie przesywającego je pręta. Wychodziła co rano przejść się po plaży mniej więcej w chwili, gdy wszyscy po kąpieli wracali na śniadanie, że zaś ona sama jadła aż o wpół do drugiej, wracała do swojej willi w momencie, gdy letnicy od dawna już opuścili pustą i rozpala-ną promenadę. Pani de Villeparisis przedstawiła babkę, chciała przedstawić i mnie, ale musiała mnie spytać o nazwisko, bo go sobie nie mogła przypomnieć. Może go nigdy nie знаła lub bodaj zapomniała od dawna za kogo babka wydała córkę. Miałem wrażenie, że to nazwisko zrobiło na pani de Villeparisis żywe wrażenie. Księżna de Luxembourg podała nam rękę i od czasu do czasu, rozmawiając z margrabiną, odwracała się, aby ob-jąć łagodnym spojrzeniem mnie i babkę, z owym zarysem pocałunku, jakim ktoś stroi uśmiech, zwracając go do niemowlęcia z nianią. A nawet, nie chcąc, aby się zdawało, że przebywa w sferze wyższej od nas, księżna musiała widocznie źle obliczyć odległość, przez błąd akomodacji bowiem spojrzenia jej przepoiły się taką dobrocią, że czekałem chwili, gdy nas pogłaszczę, niby dwa sympatyczne zwierzęta, które by wysunęły do niej głowę przez kratę w zoologicznym ogrodzie. Niebawem zresztą ten obraz zwierząt i La-sku Bulońskiego stał mi się jeszcze realniejszy. Była to godzina, gdy promenada roi się od wędrownych i krzykliwych przekupniów, sprzedających ciastka, cukierki, bułeczki. Nie wiedząc, co zrobić, aby nam okazać życzliwość, jej wysokość zatrzymała pierwsze-go z brzegu: miał tylko bułkę żytniego chleba, jaki się rzuca kaczkom. Księżna wzięła ten bocheneczek i rzekła do mnie: „To dla pańskiej babci”. Ale wręczyła go mnie, mó-wiąc z subtelnym uśmiechem: „Sam go pan babci ofiaruje”, myśląc, że ten bezpośredni kontakt ze zwierzętami uczyni moją przyjemność pełniejszą. Podeszli inni przekupnie, księżna wpakowała mi do kieszeni wszystko, co mieli: pączki, obarzanki, ciastka, cu-kier lodowaty. Powiedziała: „Proszę jeść i także poczęstować babcię”, polecając zapłacić małemu Murzynkowi w czerwonym atlasowym ubraniu, który chodził za nią wszędzie, budząc na plaży zachwyty. Potem pożegnała panią de Villeparisis i podała nam rękę z in-tencją traktowania nas tak samo jak swoją przyjaciółkę, jak swoich bliskich, zstępując do naszego poziomu. Ale tym razem księżna ustaliła widocznie nasz poziom nieco wyżej na drabinie stworzeń, bo równość swoją z nami stwierdziła w stosunku do babki owym tkliwym i macierzyńskim uśmiechem, jaki się zwraca do malca, żegnając się z nim jak z dorosłą osobą. Dzięki cudownemu procesowi ewolucji, babka nie była już kaczką ani antylo-pą, ale tym, co pani Swann nazwałaby „baby”. Opuściwszy nas wreszcie, księżna spacerowała dalej po promenadzie zalanej słońcem, gnąc swoją wspaniałą talię, która, niby wąż dokoła laseczki, oplatała się dokoła białej umbrelki z niebieskim wzorem, słu-żącej pani de Luxembourg za oparcie. Była to moja pierwsza królewska wysokość, bo księżniczka Matylda co do form nie była wcale „wysokością”. Druga, jak się okaże póź-niej, również miała mnie zdumieć dobrotliwością. Formę uprzejmości wielkich panów, dobrowolnych pośredników między panującymi a mieszczaństwem, poznałem nazajutrz, kiedy pani de Villeparisis oświadczyła nam:

— Zachwycona jest państwem. To kobieta wielkiego rozumu, wielkiego serca. Inna jest niż wiele panujących lub księżniczek krwi. To osoba rzetelnej wartości.

I pani de Villeparisis dodała z przekonaniem, uszczęśliwiona, że nam to może powie-dzieć:

— Sądzę, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła państwa spotkać jeszcze.

Ale tego samego rana, rozstawszy się z panią de Luxembourg, pani de Villeparisis powiedziała mi coś, co mnie bardziej uderzyło i co nie trąciło zdawkową uprzejmością:

— Czy pan jest synem dyrektora departamentu w ministerstwie, spytała. A! zdaje się, że pański ojciec to przemysłowiec. Odbywa bardzo piękną podróż w tej chwili.

Kilka dni przedtem dowiedzieliśmy się z listu mamy, że ojciec i jego towarzysz, pan de Norpois, zgubili bagaże.

— Znalazły się lub raczej nie zginęły, oto co się stało — rzekła pani de Villeparisis, która (nie wiedzieliśmy jak) robiła wrażenie, że jest o wiele lepiej od nas poinformowana o szczegółach podróży. — Sądzę, że pański ojciec przyspieszy swój powrót i że wróci w przyszłym tygodniu, bo najpewniej wyrzeknie się podróży do Algeciras. Ale ma ochotę poświęcić jeden dzień więcej na Toledo, bo jest wielkim miłośnikiem pewnego ucznia Tycjana, nazwiska nie pamiętam, którego można oglądać tylko tam.

I zastanawiałem się, jakim cudem w obojętnej lunecie, przez którą pani de Villeparisis oglądała z dość daleka zewnętrzną, mikroskopijną i mętną krzątaninę tłumu, ludzi, których знаła, znalazł się, w miejscu gdzie oglądała mego ojca, wprawiony kawałek szkła zdumiewająco powiększającego, który sprawiał, iż tak plastycznie i z największymi szczegółami widziała jego sympatyczność, okoliczności zmuszające go do powrotu, jego kłopoty na cle, jego kult dla El Greco, i, zmieniając dla niej skalę widzenia, ukazywał jej tego jedyne go człowieka tak wielkim pośród innych małych, niby owego Jowisza, któremu Gustave Moreau dał, malując go obok wątlej śmiertelniczki, postawę więcej niż ludzką.

Babka pożegnała się z panią de Villeparisis, aby odetchnąć nieco powietrzem przed hotelem, zanim dadzą przez szybę znak, że już podano do stołu. Rozległ się zgiełk. Była to młoda kochanka króla dzikich, która właśnie wzięła kąpiel i wracała na śniadanie.

— Doprawdy to plaga, to można wyemigrować z Francji! — wykrzyknął z wściekłością dziekan, przechodzący w tej chwili. Tymczasem żona reagenta wytrzeszczała oczy na quasi-monarchinię.

— Nie umiem panu powiedzieć, do jakiego stopnia pani Blandais mnie drażni, gapiąc się na tych ludzi. Chętnie bym jej dał za to po papie. W ten sposób daje się ważność tej hołocie, która oczywiście tylko tego pragnie, aby się nią zajmować. Niechże pan powie panu Blandais, że to jest śmieszne; ja się już z nimi nie pokażę nigdzie, jeżeli będą tak zwracali uwagę na pajaców.

Zjawienie się księżnej de Luxembourg, której powóz zatrzymał się przed hotelem owego dnia, kiedy przywiozła owoce, nie uszło uwagi rejency, dziekanowej i prezydentowej, już od pewnego czasu pałających żądzą dowiedzenia się, czy ta pani de Villeparisis, traktowana — oby niezasłużenie, w marzeniu tych pań — z takim szacunkiem, jest prawdziwą markizą, a nie awanturnicą. Kiedy pani de Villeparisis przechodziła przez hall, prezydentowa, która wszędzie wietrzyła „ładacznice”, podnosiła nos sponad robótki i patrzyła na nią w sposób rozśmieszający do łez jej przyjaciółki.

— Och, ja, wiecie moje panie — mówiła z dumą — ja zawsze zaczynam od przypuszczenia tego, co najgorsze. Wierzę, iż kobieta jest naprawdę zamężna dopiero wtedy, kiedy mi pokażą metryki i akt rejentalny. Zresztą nie bójcie się, już ja przeprowadzę swoje śledztwo.

I każdego dnia te panie przybiegały, śmiejąc się:

— Przychodzimy po nowiny.

Ale w dniu wizyty księżnej de Luxembourg, prezydentowa położyła palec na ustach:

— Są nowości.

— Och! nadzwyczajna jest ta pani Poncin! Mówże pani, co takiego?

— To takiego, że kobieta z żółtymi włosami, uszmkowana na cał grubo, w powozie na miłą pachnącym utrzymanką, takim, jak mają tylko te panny, była tu przed chwilą z wizytą do rzekomej markizy.

— Ojoj! Ładna historia! ależ o tej damulce, którą spotkaliśmy, przypomina sobie dziekan, od razuśmy sobie powiedzieli, że wygląda bardzo podejrzanie; ale nie wiedzieliśmy, że ona jechała do markizy. Kobieta z Murzynem, prawda?

— Właśnie, właśnie.

— Och! Tum cię czekał! Nie znacie panie jej nazwiska?

— Owszem, udało mi się, że się pomyliła, wzięłam jej bilet; przeważała się „księżna de Luxembourg”. Czy nie miałam racji podejrzewać! To przyjemne stykać się z czymś w rodzaju baronowej d’Ange z *Półświatka*.

Tu dziekan zacytował prezydentowi Mathurina Régnier i *Macette*.

Nie trzeba zresztą przypuszczać, aby to nieporozumienie było chwilowe, na kształt tych, które się piętrzą w drugim akcie farsy, aby się rozprosić w trzecim. Pani de Luxembourg, siostrzenica króla angielskiego i cesarza austriackiego, oraz pani de Villeparisis uchodziły stale, kiedy jechały powozem księżnej na spacer, za dwie hultajki z rodzaju tych, od których najtrudniej się uchronić w miejscach kąpielowych. Trzy czwarte mężczyzn z Faubourg Saint-Germain uchodzi w oczach znacznej części mieszczaństwa za plugawych golców (czym zresztą bywają czasem indywidualnie), za ludzi nieprzyjmowanych nigdzie. Mieszczaństwo ma o tym pojęcia zbyt dobroduszne, bo skazy tych panów nie przeszkodziłyby im bynajmniej znajdować najlepszego przyjęcia tam, gdzie zacny mieszczanin nie dostanie się nigdy. A oni tak dalece wyobrażają sobie, iż mieszczaństwo o tym wie, że silą się w tym, co się ich tyczy, na prostotę, szkalując równocześnie swoich szczególnie skrachowanych przyjaciół, co dopełnia miary nieporozumienia. Wielki pan jest, dajmy na to, w stosunkach z drobnym mieszczaństwem, ponieważ, będąc bardzo bogaty, piastuje przypadkowo prezesurę wielkich towarzystw akcyjnych. Burżuazja, widząc wreszcie arystokratę godnego być wielkim mieszczaninem, przysięgłaby, że on nie przestaje z pewnym margrabią, graczem i bankrutem, którego mieszczanin uważa za tym bardziej pozbawionego stosunków, im jest grzeczniejszy. I nie może ochłonąć, kiedy książę pan, prezes rady nadzorczej kolosalnego interesu, żeni syna z córką owego margrabiego, gracza, ale człowieka o najstarszym we Francji nazwisku; tak samo jak panujący raczej żeni syna z córką zdetronizowanego króla niż z córką funkcjonującego prezydenta republiki. Znaczy to, że owe dwa światy mają o sobie wzajem pojęcia równie chimeryczne, jak je mają mieszkańcy plaży na jednym krańcu zatoki Balbec o plaży znajdującej się na drugim krańcu; z Rivebelle widać trochę Marcouville l'Orgueilleuse; ale właśnie to myli, bo przypuszczamy, że nas widać z Marcouville, skąd, przeciwnie, splendory Rivebelle są przeważnie niedostrzegalne.

Lekarz z Balbec, wezwany do mnie z powodu ataku gorączki, uznał, że nie powinien pozostawać cały dzień nad morzem w pełnym słońcu w największy upał. Nakreślił dla mnie parę recept; babka wzięła je z pozornym szacunkiem, w którym poznałem natychmiast niezłomne postanowienie nieużycia żadnej, ale uwzględniła zalecenia lekarza z zakresu higieny i przyjęła propozycję pani de Villeparisis, która ofiarowała się brać nas na spacer powozem. Aż do śniadania chodziłem tam i z powrotem od siebie do pokoju babki. Jej pokój nie wychodził wprost na morze jak mój, ale miał okna na trzy różne strony; na plażę, na dziedziniec i na pole. Umieblowany też był inaczej: miał wielkie fotele haftowane metalowym filigranem w różowe kwiaty, zdające się wydzielać miłą i świeżą woń, którą czuło się wchodząc. I o tej godzinie, kiedy promienie, pochodzące z różnych oświetleń i jakby z różnych godzin, łamały kąty ścian i obok odbłasku plaży wznosiły na komodzie ołtarzyk pstry jak kwiaty na ścieżce, wieszały na ścianie zwinięte, drżące i ciepłe skrzydła jasności gotowej znów wzlecieć, grzały jak kąpiel kwadrat dywanika przed oknem od dziedzińca, które słońce stroiło niby liściem wina, przydawały czaru i różnaitości meblom, cieniuąc kwiecisty jedwab foteli i rzeźbiąc ich pasmanterie, ten pokój, do którego wstępowałem na chwilę, zanim się przebrałem na spacer, robił wrażenie pryzmatu rozkładającego światło, wrażenie ula, gdzie soki czekającego mnie dnia były rozpuszczone, rozproszone, upajające i widzialne — ogrodu nadziei, roztopionego w drganiu srebrnych promieni i płatków róży. Ale przede wszystkim rozsunałem firanki z żądzą sprawdzenia, jakie jest Morze igrające tego ranka na brzegu niby nereida. Bo żadne z owych Mórz nie trwało dłużej niż jeden dzień. Nazajutrz było już inne, czasem podobne do tamtego. Ale nie było nigdy dwa razy jednakie.

Bywały morza o piękności tak rzadkiej, że na ich widok radość moja rosła jeszcze od niespodzianki. Mocą jakiego przywileju, raczej w ten ranek niż w inny, uchylone okno odsłaniało moim zachwyconym oczom nimfę Glaukonomene, której leniwa i miękko oddychająca uroda miała przejrzystość mglistego szmaragdu, pozwalającego oku oglądać przypływ ważkich elementów, które go barwiły? Niby owe boginie, które rzeźbiarz wylania z bloku, nie racząc go ociosać, pozwalała z omdlałym uśmiechem igrać słońcu w niewidzialnej mgłę, będącej jedynie pustą przestrzenią dokoła jej przejrzystej powierzchni, bardziej przez to zgęszczonej i przejmującej. Tak, w swoim jedynym kolorze, morze zapraszało nas na przejażdżkę po owych pospolitych i ziemnych drogach, skąd, siedząc

w powozie pani de Villeparisis, widzieliśmy przez cały dzień, i nigdy go nie dosięgając, chłód jego miękkiego pulsowania.

Pani de Villeparisis polecała zaprzęgać wcześniej, iżbyśmy mieli czas dotrzeć bądź do Saint-Mars-le-Vêtu, bądź do skał Quetteholme, lub do jakiegoś innego celu, który przy dosyć powolnej jeździe był nader odległy i wymagał całego dnia. Uszczęśliwiony długim spacerem, jaki mieliśmy przed sobą, nuciłem świeżo zasłyszaną melodyjkę i wałęsałem się przed hotelem, czekając, aż pani de Villeparisis będzie gotowa. Jeżeli to była niedziela, nie sam powóz margrabiny stał przed hotelem; kilka wynajętych fiaków czekało nie tylko na osoby zaproszone na wieś do pani de Cambremer, ale na te, które (nie chcąc wyglądać jak dzieci za karę zostawione w domu) oznajmiały, że niedziela to jest w Balbec dzień bardzo nudny i jechały zaraz po śniadaniu skryć się na sąsiedniej plaży lub zwiedzić jakieś okolice. Często nawet, kiedy się ktoś spytał pani Blandais, czy była u Cambremerów, odpowiadała: „Nie, byliśmy u wodospadów Bec”, jak gdyby to był jedyny powód, dla którego nie spędziła dnia w Fêterne. I dziekan powiadał miłośnikom:

— Zazdroszczę państwu, byłbym się chętnie z wami zamienił, to grubo bardziej interesujące.

Przed bramą, gdzie czekałem, tkwił obok powozów, niby rzadkiego gatunku krzew, młody „strzelec”, zwracający uwagę osobliwą harmonią swoich barwnych włosów, jak również swoją roślinną cerą. Wewnątrz, w hallu będącym niby *narteks* lub *kościół katechumenów* w kościołach romańskich i pozwalającym przejścia osobom niemieszkającym w hotelu, koledzy owego grooma stojącego przed bramą pracowali nie o wiele więcej, ale wykonywali bodaj jakieś ruchy. Prawdopodobne jest, iż rano pomagali sprzątać. Ale popołudniu znajdowali się tam jedynie niby chórzyci, którzy nawet w chwilach, gdy nie służą do niczego, zostają na scenie, aby pomnożyć liczbę statystów. Generalny dyrektor, ten, który mnie tak straszyl, spodziewał się pomnożyć znacznie ich liczbę na przyszły rok, wszystko bowiem widział na wielką skalę. I ta jego decyzja bardzo martwiła dyrektora hotelu, uważającego, że wszystkie te chłopaki „robią tylko destrukcję”, rozumiejąc przez to, że zatarasowują przejście, a nie służą do niczego. Ale między śniadaniem a obiadem, między wyjściem a powrotem klientów wypełniali bodaj luki akcji; jak owe wychowanki pani de Maintenon, które w kostiumach młodych Izraelitek wypełniają scenę, ilekroć Estera lub Joad się oddała. Ale sterczący na dworze „strzelec” o subtelnych tonach, o smukłej i wątłej postaci, opodal którego oczekiwałem przybycia margrabiny, zachowywał nieruchomość, z którą kojarzyła się melancholia, bo jego starsi bracia porzucili hotel dla świetniejszych losów, a on czuł się samotny na tej obcej ziemi.

Wreszcie zjawiała się pani de Villeparisis. Zająć się jej powozem i wsadzić ją do niego wchodziłoby może w funkcje „strzelca”. Ale on wiedział, że osoba, która przywozi ze sobą własny personel i daje się obsługiwać swoim ludziom, mało zazwyczaj zostawia napiwków w hotelu; i że wysoka arystokracja postępuje tak samo. Pani de Villeparisis należała równocześnie do obu kategorii. Roślinny strzelec wyciągnął stąd wniosek, że nie ma się czego spodziewać; zacem, zostawiając zarządzającemu oraz prywatnej pokojówce margrabiny troskę o usadowienie jej wraz z rzeczami, dumal smutno o szczęsnej doli braci i trwał w bezruchu swojej wegetacji.

Ruszailiśmy; niebawem, okrążywszy stację kolejową, wjeżdżaliśmy na drogę wiejską, która wkrótce stała mi się równie znajoma jak drogi w Combray, od zakrętu, gdzie się wikłała w uroczu zagrody, aż do miejsca, gdzieśmy ją opuszczali i gdzie rozciągały się po obu stronach uprawne pola. Wśród tych pól widziało się tu i ówdzie jabłoni, pozbawioną co prawda kwiatów i dźwigającą już tylko bukiety słupków, ale wystarczającą, aby mnie oczarować, poznawałem bowiem owe nieporównane liście, których szeroka powierzchnia, niby dywan na estradzie po skończonej już uczcie weselnej, była świeżo zamieciona białym atlasowym trenem rumieniących się kwiatów.

Ileż razy w Paryżu, w maju następnego roku, zdarzyło mi się kupić w kwiaciarni gałąź jabłoni i spędzić potem noc, patrząc na te kwiaty, gdzie błyszcząca ta sama kremowa esencja, pudrująca jeszcze swoją pianą zawiązki liści! Rzekłoby się, iż to kwaciarz, przez uprzejmość dla mnie, przez pomysłowość także i dla efektownego kontrastu, pomieścił między ich białymi płatkami z każdej strony ładny różowy pączek; patrzyłem na nie, ustawiałem je pod lampą, tak długo, że często trwałem tak jeszcze, kiedy jutrzienka przydawała im tej samej czerwieni, jaką musiała rodzić o tym czasie w Balbec. I sililem

się przenieść je wyobraźnią na tę drogę w Balbec, mnożyć je, rozmieścić w przygotowanej ramie, na gotowym już płótnie owych zagród, których rysunek umiałem na pamięć i które tak byłbym pragnął ujrzeć — które pewnego dnia miałem ujrzeć — w chwili gdy z czarującą werwą geniuszu wiosna pokrywa ich kanwę swymi kolorami.

Zanim wsiedliśmy do powozu, skomponowałem sobie obraz morza, którego miałem szukać, które spodziewałem się oglądać wraz z „promiennym słońcem”. Widziałem je w Balbec jedynie pokawałkowane wśród tyłu pospolitych wycinków, nieuznawanych przez moje marzenie: letnicy, kabiny, spacerowe jachty. Ale kiedy powóz pani de Villeparisis przybywał na szczyt zbocza i kiedym oglądał morze poprzez liście drzew, wówczas z daleka zniknęły niechybnie owe współczesne szczegóły, mieszczące je jak gdyby poza naturą i historią; i daremnie, patrząc na fale, siliłem się pamiętać, że to są te same, które Leconte de Lisle maluje nam w *Orestei*, kiedy, „niby drapieżnych ptaków lot w jutrzeńki blasku”, długowłosi woje bohaterskiej Hellady „stu tysiącami wiosł bili dźwięczną falę”. Ale w zamian nie byłem już dość blisko morza, które nie wydawało mi się żyjące, ale skrzepłe; nie czułem już potęgi pod tymi farbami rozpostartymi niby na obrazie między liśćmi, gdzie morze ukazywało się równie niestałe jak niebo i tylko od niego ciemniejsze.

Widząc, że Kocham kościoły, pani de Villeparisis przyrzekła mi, że pojedziemy kiedyś obejrzeć jeden, to znów kiedy indziej drugi, zwłaszcza kościół w Carqueville, „cały schowany pod starym bluszczem”, mówiła margrabina, jak gdyby gestem wdzięcznie spowijając urojoną fasadę w niewidzialne i delikatne listowie. Pani de Villeparisis znajdowała często, wraz z tym lekkim ilustrującym gestem, trafne słowa dla określenia uroku i odrębności jakiejś budowli, unikając zawsze terminów technicznych, ale nie mogąc ukryć, iż bardzo dobrze zna się na tym, o czym mówi. Usprawiedliwiała się jak gdyby tym, że jeden z zamków jej ojca, gdzie się chowała, znajdował się w okolicy posiadającej kościoły tego samego stylu co dokoła Balbec; byłby tedy wstyd, gdyby nie nabrała pasji do architektury, ile że sam ów zamek był zresztą wspaniałym okazem renesansowego budownictwa. Ale że był on zarazem prawdziwym muzeum — grywali tam Chopin i Liszt, mówił tam wiersze Lamartine, wszyscy znani artyści całej epoki wpisywali tam w rodzinne album myśli, melodie, szkice — pani de Villeparisis przez wdzięk, przez dobre wychowanie, przez istotną skromność lub przez brak filozoficznego zmysłu, przytaczała jedynie owo czysto materialne źródło swojego znanstwa we wszystkich sztukach, tak iż w końcu robiło to wrażenie, że uważa malarstwo, muzykę, literaturę i filozofię za wiano młodej panny, najarystokratyczniej wychowanej w skatalogowanym i sławnym zabytku. Można by rzec, że nie istnieją dla niej inne obrazy prócz tych, które się odziedziczyło. Rada była, że babce podoba się naszyjnik wyglądający jej zza stanika. Znajdował się na portrecie jakiejś prababki, pędzla Tycjana, portrecie, który nigdy nie wyszedł z rodziny. W ten sposób miało się pewność, że jest prawdziwy. Nie chciała słyszeć o obrazach kupionych nie wiadomo jak przez jakiegoś krezusa; była z góry przekonana, że są fałszywe i nie miała żadnej ochoty ich oglądać. Wiedzieliśmy, że sama margrabina maluje kwiaty akwarelą; babka, która słyszała pochlebne rzeczy o jej sztuce, wspomniała o tym. Pani de Villeparisis odmieniła rozmowę przez skromność, ale nie okazując więcej zdziwienia i przyjemności niż mogłaby ich okazać znana artystka, której komplementy nie mówią nic nowego. Powiedziała tylko, że to jest rozkoszne spędzenie czasu, bo jeżeli kwiaty zrodzone z pędzla nie są nadzwyczajne, to przynajmniej malując je, żyje się w towarzystwie kwiatów naturalnych, których pięknnością — zwłaszcza gdy je trzeba oglądać z bliska, aby je naśladować — nie podobna się znużyć. Ale w Balbec pani de Villeparisis używała sobie urlopu, aby dać odpocząć oczom.

Byliśmy z babką zdziwieni, widząc, o ile margrabina jest bardziej „liberalna”, niż bywa nawet przeważna część mieszczaństwa. Dziwiła się, że się ktoś gorszy wypędzeniem jezuitów; powiadała, że to się zawsze praktykowało, nawet za monarchii, nawet w Hiszpanii. Broniała republiki, której wyrzucała antyklerykalizm jedynie w tej mierze: „Uważałabym za równie nieznośne, gdyby mi zabraniano iść na mszę, o ile mam ochotę, co gdyby mnie zmuszano do tego, jeżeli nie chcę”. Puszczala się nawet na powiedzenia w tym rodzaju: „Och, dzisiaj szlachectwo, cóż to znaczy!”, „Dla mnie, człowiek, który nie pracuje, to jest nic”; może jedynie dlatego, że czuła, ile takie powiedzenia nabierają pikanterii, smaku, charakteru właśnie w jej ustach. Słyszając owe tak szczerze wyrażane postępowe poglądy — niesięgające jednak aż do socjalizmu, prawdziwej zmory pani de Villeparisis — wy-

głaszane właśnie przez jedną z owych osób, które, narzucając nam szacunek dla swojej inteligencji, nie pozwalają naszej skrupulatnej i tchórzliwej bezstronności potępić hasła konserwatystów, skłonni byliśmy z babką niemal wierzyć, że w naszej milej towarzysze znajduje się miara i wzór wszelkiej prawdy. Wierzyliśmy na słowo margrabinie, gdy wydawała sądy o swoich Tycjanach, o kolumnadzie w swoim zamku, o dowcipie konwersacji Ludwika Filipa. Bywają erudyci, którzy olśniewają nas, kiedy ich naprowadzić na malarstwo egipskie lub napisy etruskie, natomiast o współczesnych dziełach mówią w sposób tak banalny, iż zapytujemy sami siebie, czyśmy nie przecenili wartości nauk, w których są biegli, skoro nie ujawnia się w nich ta sama tępota, jaką musieli przecie w nie wnieść, równie dobrze jak w swoje płaskie studium o Baudelaire. Podobnie pani de Villeparisis, pytana przeze mnie o Chateaubrianda, o Balzaka, o Wiktora Hugo, bywających niegdyś u jej rodziców i znanych jej osobiście, śmiała się z mojego podziwu, opowiadała o nich dowcipne historyjki, jak je dopiero co opowiadała o wielkich panach lub o mężach stanu, i surowo sądziła tych pisarzy, właśnie dlatego, że im brakło owej skromności, owego usuwania się w cień, owego umiaru, który się zadawała jednym rysem i nie podkreśla, unikając ponad wszystko śmieszności frazeologii; owej przytomności umysłu, trafności sądu, prostoty, do których (jak ją uczono) wznoszą się umysły prawdziwie wartościowe. Widać było, że margrabina bez wahania przekłada ludzi, którym może w istocie zalety te dawały przewagę nad takim Balzakiem, nad Wiktorem Hugo, Alfredem de Vigny, w salonie, w Akademii, na radzie ministrów — ludzi jak Molé, Fontanes, Vitrolles, Bersot, Pasquier, Lebrun, Salvandy lub Daru.

— To tak jak powieści Stendhala, które, jak widzę, ceni pan tak wysoko. Byłby go pan bardzo zdziwił, mówiąc do niego w tym tonie. Ojciec mój, który go widywał u pana Mérimée (to był przynajmniej człowiek z talentem!) często mówił mi, że Beyle (tak się nazywał) był straszliwy ordynus, ale nie bez dowcipu przy stole, i że nie przywiązywał zbytnej wagi do swoich książek. Zresztą musiał pan zauważyć, jakim wzruszeniem ramion przyjął przesadne pochwały pana de Balzac. W tym przynajmniej okazał się człowiekiem dobrego towarzystwa.

Margrabina miała autografy wszystkich tych wielkich ludzi i podkreślając osobiste stosunki, jakie rodzina jej utrzymywała z nimi, zdawała się przeświadczona, że jej sąd trafniejszy jest niż sąd młodych ludzi, którzy, jak ja, nie mogli ich znać.

— Mogę chyba o nich mówić, bo bywali u mego ojca; i jak powiadał pan Sainte-Beuve, człowiek bardzo inteligentny, trzeba w tym względzie wierzyć osobom, które ich widywały z bliska i mogły ściśle osądzić, co byli warci.

Czasami, gdy powóz wspinał się pod górę między uprawnymi polami, kilka niepewnych bławatków, przypominających mi Combray, biegło za nami, czyniąc pola czymś bardziej realnym, przydając im znamię autentyczności, niby ów szacowny kwiatek, jakim niektórzy dawni mistrze sygnowali swoje obrazy. Niebawem konie wyprzedzały je, ale po kilku krokach spostrzegaliśmy jakiś inny, który, czekając na nas, zatknął przed nami w trawie swoją niebieską gwiazdę; niektóre ośmielały się do tego stopnia, że przystawały na skraju drogi: była to istna mgławica, tworząca się z moich dalekich wspomnień i z oswojonych kwiatów.

Zjeżdżaliśmy w dół; wówczas mijaliśmy jakąś ludzką istotę, wstępującą na zбочce pieszo, na bicyklu, w kariołce lub powozem, dziewczynę wiejską pędzącą krowę lub wół leżącą na wózku, córkę sklepiarza zażywającą przechadzki, wykwinną pannę siedzącą na przedzie landa na wprost rodziców — kwiaty pogodnego dnia, ale niepodobne kwiatom polnym, bo każdy z nich kryje coś, czego nie ma w tamtych i co nie pozwoli nam znaleźć w innych, podobnych mu, zadowolenia pragnień, jakie w nas zrodził... Niewątpliwie, Bloch otworzył mi nową erę i zmienił dla mnie wartość życia w dniu, gdy mnie pouczył, iż marzenia, które nosiłem samotnie w stronę Méséglise, kiedy pragnąłem zjawienia się wieśniaczki, aby ją wziąć w ramiona, nie są chimerą pozbawioną wszelkiej realności poza mną, ale że wszystkie spotykane dziewczyny, wieśniaczki czy panny z miasta, gotowe są tych pragnień wysłuchać. I choćbym miał — teraz, kiedy byłem cierpiący i nie wychodziłem sam — nigdy nie zakosztować ich miłości, i tak czułem się szczęśliwy niby dziecko urodzone w więzieniu lub w szpitalu, które, długo wierząc, że organizm ludzki może strawić jedynie suchy chleb lub lekarstwa, dowiedziało się nagle, że brzoskwinie, morele, winogrona, nie są jedynie ornamentem pejzażu, ale rozkosznym i strawnym po-

żywieniem. Nawet jeżeli dozorca lub pielęgniarka nie pozwolą mu zrywać tych pięknych owoców, świat widzi mu się już lepszy, a istnienie znośniejsze. Bo pragnienie wydaje się nam piękniejsze, opieramy się na nim z większą ufnością, kiedy wiemy, że poza nami rzeczywistość odpowiada mu, nawet jeżeli dla nas jest ono niepodobne do ziszczenia. I myślimy z większą radością o życiu, w którym możemy sobie wyobrazić siebie sycących nasze pragnienia pod warunkiem, żebyśmy usunęli na chwilę z naszej myśli przypadkową i specjalną małą przeszkodę, broniącą nam uczynić to osobiście. Od dnia, kiedy się dowiedział, że policzki spotykanych dziewcząt można całować, stałem się ciekaw ich duszy. I wszechświat wydał mi się bardziej interesujący.

Powóz pani de Villeparisis jechał szybko. Ledwie miał czas przyjrzeć się dziewczęciu idącemu w naszym kierunku. Piękność ludzka nie jest jak uroda rzeczy; czujemy, że jest pięknością istoty jedynej, świadomej i obdarzonej wolą. Toteż z chwilą, gdy osobowość tej dziewczyny, jej nieuchwytna dusza, nieznana mi wola, wyraziła się małym, cudownie zmniejszonym, ale pełnym obrazem w jej nieuważnym spojrzeniu, już — niby tajemnicza kopia pyłków przeznaczonych dla słupka — czułem, iż we mnie drży równie nieokreślony, równie maleńki embriion żądzy, aby nie dać przejść tej dziewczynie, zmusić jej myśl, by przyjęła do świadomości moją osobę, zabronić jej pragnieniom biec do kogokolwiek innego, wcisnąć się w jej marzenia i ovladnąć jej sercem. Tymczasem powóz oddalał się, piękna dziewczyna była już za nami, że zaś nie posiadała o mnie żadnego z pojęć tworzących osobowość, oczy jej, które zaledwie mnie widziały, już zapomniały o mnie. Czy dlatego, że ją ujrzałem ledwie w przelocie, wydała mi się tak piękna? Może. Niepodobieństwo zatrzymania się przy kobiecie, ryzyko, że się jej nie odnajdzie innego dnia, dają jej nagle i od razu ten sam urok, jaki obcemu krajowi daje choroba czy ubóstwo niepozwalające go nam zwiedzić lub jaki bezbarwnym dniom, pozostałym nam do życia, daje walka, w której zapewne padniemy. Tak iż gdyby nie przyzwyczajenie, życie musiałoby się wydać rozkoszne istotom zagrożonym w każdej godzinie śmiercią — to znaczy wszystkim ludziom. Następnie, o ile wyobraźnię porывa żądza tego, czego nie możemy posiadać, rozpędu jej nie ogranicza dokładnie doznana rzeczywistość w owych spotkaniach, w których wdzięki mijanej osoby są zazwyczaj w prostym stosunku do szybkości mijania jej. Niech tylko zapadnie zmrok, a powóz niech jedzie szybko, na wsi czy w mieście, a każdy tors kobiecy, uszkodzony niby starożytny marmur przez szybkość, która nas porывa, i zmierzch, który go roztopia, będzie miotał w nasze serce, na każdym zakręcie drogi, z głębi każdego sklepu, strzały Piękności. I mielibyśmy czasem chęć zapytać, czy piękność jest w tym świecie czym innym niż dopełnieniem, jakie nasza podniecona żalem wyobraźnia przydaje fragmentarycznym i ulotnym kształtom mijanej osoby.

Gdybym mógł zejść porozmawiać z dziewczyną, którąśmijaliśmy, może by mnie rozczarowała jakaś skaza jej skóry, niezauważona z powozu? (I wówczas wszelki wysiłek dla wnikięcia w jej życie wydałby mi się nagle niemożliwy. Bo piękność jest ciągiem hipotez, które zwęża brzydota, zamykając drogę już się otwierającą w nieznanne). Może jedno słowo tej dziewczyny, jeden uśmiech, dostarczyłyby mi nieoczekiwanego klucza, szyfru, dla odczytania wyrazu jej twarzy i jej chodu, które natychmiast stałyby się banalne. Możliwe, bo nigdy nie spotkałem w życiu równie ponętnych dziewczyn jak w dniu, gdym towarzyszył jakiejś poważnej osobie, której, mimo tysiąca wyszukiwanych pozorów, nie mogłem opuścić. W kilka lat po moim pierwszym pobycie w Balbec, jadąc w Paryżu powozem z przyjacielem ojca i spostrzegłszy kobietę idącą szybko w ciemności, pomyślałem, że byłoby szaleństwem stracić dla konwenansu swoją część szczęścia w jedynym życiu, jakie zapewne istnieje; jakoż, wyskoczywszy z powozu bez usprawiedliwienia się, pobiegłem za nieznaną, straciłem ją na zbiegu dwóch ulic, dopadłem ją w trzeciej i znalazłem się wreszcie, bez tchu, pod latarnią, na wprost starej Verdurin, której unikałem wszędzie i która, szczęśliwa i zdziwiona, wykrzyknęła: „Och! jak to uprzejmie z pana strony tak biec po to, żeby się ze mną przywitać?”

Tego roku w Balbec, w chwili takich spotkań, upewniałem babkę i panią de Villeparisis, że mnie rozboleła głowa i że dobrze mi zrobi wrócić pieszo. Nie pozwalały mi wysiąść. I dołączałem ładną dziewczynę (o wiele trudniejszą do odnalezienia niż jakiś zabytek, bo była bezimienna i ruchoma) do kolekcji wszystkich tych, które sobie przyrzekłem ujrzeć z bliska. Jedna tylko zjawiała mi się ponownie w okolicznościach takich, że myślałem, iż mógłbym ją poznać, jak pragnąłem. Była to mleczarka, przynosiła ze

Piękno

wsi śmietankę do hotelu. Myślałem, że i ona mnie poznała; w istocie patrzała na mnie z uwagą, jaką wywołało może jedynie zdziwienie, że ja się jej tak przyglądam. Otóż nazajutrz, w dniu, kiedy leżałem całe rano, Franciszka, przyszedłszy rozsunać koło południa firanki, oddała mi list, zostawiony dla mnie w hotelu. Nie znałem nikogo w Balbec. Nie wątpiłem, że list jest od mlecarki. Niestety, był od pana Bergotte, który w przejeździe próbował się ze mną zobaczyć, ale dowiedziawszy się, że śpię, zostawił mi przemyślnie kilka słów. Chłopiec od windy włożył jego bilet w kopertę z adresem, który wzięłem za pismo mlecarki. Uczułem straszliwy zawód; myślałem, że trudniej i pochlebniej jest mieć list od Bergotte'a, nie pocieszała mnie zgoła w tym, że to nie był list od mlecarki. I owej dziewczyny również nie odnalazłem, tak samo jak tych, którym widział jedynie z powozu pani de Villeparisis. Widok i utrata ich wszystkich wzmagały stan podniecenia, w jakim żyłem; zaczynałem rozumieć mądrość filozofów, zalecających nam ograniczyć nasze pragnienia (o ile, rozumie się, mają na myśli pragnienie jakiejś istoty, jedyne zdolne zrodzić w nas niepokój, jako mające za cel Nieznane Świadome. Przypuścić, iż filozofia mówi o pragnieniu bogactw, byłoby zbyt niedorzeczne). Mimo to, byłem skłonny uważać tę mądrość za niepełną, powiadałem sobie bowiem, iż spotkania te każą mi znajdować jeszcze piękniejszym świat, gdzie tak po wszystkich wiejskich drogach rosną kwiaty osobliwe i pospolite zarazem, ulotne skarby dnia, gratki spaceru, dające nowy smak życiu, z których jedynie przypadkowe warunki (a te może nie będą się powtarzały zawsze) przeszkodziły mi skorzystać.

Ale może, spodziewając się, iż któregoś dnia, swobodniejszy, mógłbym spotkać na innych drogach podobne dziewczyny, zacząłem już fałszować to, co jest wyłącznie indywidualnego w pragnieniu życia obok kobiety, która się nam wydała ładna; i przez fakt, że dopuszczałem możliwość wywołania go sztucznie, uznawałem tym samym jego złudność.

Jednego dnia pani de Villeparisis zawiozła nas do Carqueville, gdzie się znajduje ów obrosły bluszczem kościół, o którym wspominała. Zbudowany na pagórku, góruje nad wsią, nad rzeką przepływającą przez wieś, gdzie zachował się jakiś średniowieczny mostek. Babka, myśląc, że rad będę zostać sam, aby się przyjrzeć kościołowi, zaproponowała przyjaciółce podwieczorek w cukierni na rynku, który widać było wyraźnie i który, w swojej złocistej patynie, stanowił niby inną część jakiegoś starożytnego przedmiotu. Umówiliśmy się, że się tam spotkamy. Aby rozpoznać kościół w bloku zieloności, przed którym mnie zostawiono, trzeba było uczynić wysiłek, dający mi głębiej wniknąć w ideę kościoła. W istocie, jak zdarza się uczniom, pełniej ogarniającym sens zdania, kiedy się im każe dla ćwiczenia rozebrać je z form, do jakich przywykli, musiałem sobie wciąż tutaj uprzytamniać ideę kościoła, której zazwyczaj prawie nie potrzebowałem wobec wież rysujących się wyraźnie; musiałem odwoływać się do niej, aby nie zapomnieć tu, że wierzchołek tego bluszczowego gąszczu jest sklepieniem gotyckiego okna, ówdzie, że wykusz liści wynika z wypukłości gzymsu. Ale wówczas zrywał się lekki wiatr, wstrząsał ruchomą kruchną, którą przebiegały dreszcze przeciągłe i drżące jak światło, liście trącały się o siebie wzajem, i roślinna fasada, cała drżąca, pociągała z sobą płynne, puszczone i chwiejące się filary.

Kiedy opuszczałem kościół, ujrzałem koło starego mostu dziewczęta wiejskie, które, z pewnością dlatego, że to była niedziela, stały wystrojone, nawołując przechodzących chłopaków. Była wśród nich roślina dziewczyna o poważnej i energicznej twarzy, mniej strojna od innych, ale jak gdyby górująca czymś nad nimi, bo ledwie odpowiadała na to, co do niej mówiły. Wpół siedząc ze zwieszonymi nogami na poręczy mostu, miała przed sobą garnek pełen ryb, które zapewne dopiero co złowiła. Miała smagłą cerę, oczy łagodne, ale o spojrzeniu jakby wzdorczym dla tego, co ją otaczało, kształtny i uroczy nosek. Spojrzenia moje kładły się na jej skórze, a wargi moje mogły ostatecznie wierzyć, że towarzyszyły moim spojrzeniom. Ale nie tylko jej ciało byłbym chciał dotknąć; także osobę, która w nim żyła i której można dotknąć tylko w jeden sposób, to znaczy ściągając jej uwagę, a wniknąć w nią jedynie budząc w niej myśl.

I ta wewnętrzna istota pięknej rybaczki zdawała mi się jeszcze zamknięta; powątpiewałem, czym w nią się wdarł, nawet kiedy ujrzałem własny obraz odbijający się ukradkiem w zwierciadle jej spojrzenia, wedle prawideł refrakcji, równie mi nieznanym, co gdybym się znalazł w polu widzenia łani. Ale tak samo jak nie byłoby mi wystarczyło, aby wargi moje wzięły rozkosz z jej warg, lecz byłbym chciał, aby ją dały i jej, tak samo chciałbym,



aby pojęcie *mnie*, wchodząc w tę istotę, zajął się w niej, ściągnęło na mnie nie tylko jej uwagę, ale i podziw, i pragnienie, i aby ją zmusiło do zachowania mego wspomnienia aż do dnia, gdy mógłbym ją odnaleźć. Tymczasem widziałem o kilka kroków miejsce, gdzie mnie miał oczekiwać powóz pani de Villeparisis. Miałem tylko jedną chwilę; już czułem, że dziewczęta zaczynają chichotać z tego, że tak przystanął. Miałem pięć franków w kieszeni. Wyjąłem je i zanim wytłumaczyłem pięknej dziewczynie swoje zlecenie, pragnąc mieć więcej szans, że mnie posłucha, trzymałem przez chwilę pieniądź przed jej oczami:

— Mam wrażenie, że pani jest tutejsza — rzekłem do rybaczki — czy byłaby pani tak dobra załatwić dla mnie pewien drobiazg? Trzeba by przejść do cukierni, znajdującej się podobno na rynku, ale nie wiem ściśle gdzie; tam czeka na mnie powóz. Niech pani czeka!... Dla uniknięcia pomyłki, zapyta pani, czy to jest powóz margrabiny de Villeparisis. Zresztą pozna go pani, jest dwukonny.

To chciałem, żeby wiedziała, aby zyskała o mnie wysokie pojęcie. I kiedym wymówił słowa „margrabina” i „dwukonny”, nagle doznałem wielkiego ukojenia. Uczułem, że rybaczka zapamięta mnie, i wraz z lękiem, że jej nie zdołam odszukać, rozproszyła się w znacznej mierze i żądza odszukania jej. Miałem uczucie, że dotknął niewidzialnymi wargami jej osoby i że się jej spodobałem. I to wzięcie jej duszy przemocą, to niematerialne posiadanie, odjęło dziewczynie tyleż tajemnicy, ile mogłoby odjąć posiadanie fizyczne.

Jechaliśmy w dół ku Hudimesnil; naraz wypełniło mnie owo głębokie szczęście, które nieczęsto odczuwałem od czasu Combray; szczęście analogiczne z tym, jakie mi dały, między innymi, wieże w Martinville. Ale tym razem pozostało ono niepełne. Spostrzegłem poniżej kabłąku wysklepionej drogi, którąśmy jechali, trzy drzewa, znaczące wjazd do zacienionej alei i tworzące rysunek, oglądany przeze mnie jakby nie po raz pierwszy. Nie umiałem rozpoznać miejsca, skąd je jak gdyby wyrwano, ale czułem, że było mi ono niegdyś dobrze znane; i gdy mój duch wahał się tak między jakimś odległym rokiem a chwilą obecną, okolice Balbec zachwiały się i spytałem sam siebie, czy cały ten spacer nie jest fikcją, Balbec miejscem, gdzie był jedynie w wyobraźni, pani de Villeparisis figurą z powieści, a trzy stare drzewa rzeczywistością, którą odnajdujemy, podnosząc oczy znad czytanej właśnie książki, co nam opisywała jakieś miejsce, dając nam wreszcie uwierzyć w naszą w nim obecność.

Patrzałem na trzy drzewa; widziałem je dobrze, ale duch mój czuł, że pokrywają coś, co się umyka jego władzy, niby zbyt daleko pomieszczone przedmioty, których nasze wyciągnięte palce ledwo chwilami dotykają, niezdolne ich pochwycić. Wówczas odpoczywamy chwilę, aby próbować sięgnąć dalej silniejszym rzutem ramienia. Ale, iżby mój duch mógł się tak skupić, wziąć rozmach, na to musiałbym być sam. Jakże byłbym chciał móc się oddalić, jak to czyniłem w czasie spacerów w stronę Guermantes, kiedym się odłączał od rodziców. Zdawało mi się nawet, że powinien bym to uczynić. Poznawałem ów rodzaj przyjemności, który wymaga niewątpliwie pewnej pracy myśli, ale wobec której słodczy lenistwa każącego się nam wyrzec tej pracy wydają się bardzo mierne. Rzadko jedynie doznawałem tej przyjemności, której przedmiot zaledwie przeczuałem, którą musiałem sam stworzyć, ale za każdym razem miałem uczucie, iż rzeczy dziejące się w przerwach są prawie bez znaczenia i że mógłbym wreszcie rozpocząć prawdziwe życie, czepiając się jego jedynej rzeczywistości.

Zasłoniłem na chwilę oczy, aby moc je zamknąć tak, by pani de Villeparisis tego nie spostrzegła. Trwałem w ten sposób, nie myśląc o niczym, po czym z mojej skupionej, mocniej uchwyconej myśli, skoczyłem dalej w kierunku drzew lub raczej w tym wewnętrznym kierunku, na którego końcu widziałem je w sobie samym. Znów czułem za nimi ten sam przedmiot znany, ale mglisty, którego nie mogłem ściągnąć do siebie. Jednakże, w miarę jak powóz się posuwał, widziałem, jak wszystkie trzy zbliżają się. Gdzie ja już patrzył na nie? Nie było w okolicach Combray żadnego miejsca, gdzie by się aleja otwierała w ten sposób. Nie było również nic podobnego w miejscowości w Niemczech, gdzie był pewnego roku z babką u wód. Miałem przypuszczać, iż pochodzą z tak już odległych lat mojego życia, że otaczający je krajobraz zatracił się całkowicie w mojej pamięci i że, niby stronicie nagle odnalezione ze wzruszeniem w jakimś dziele, o którym sądziliśmy, żeśmy go nigdy nie czytali, wypływały same z zapomnianej książki mego nie-

Drzewo

mowlęctwa? Czy też, przeciwnie, należały do owych krajobrazów oglądanych we śnie, zawsze tych samych, przynajmniej dla mnie, a ich dziwny wygląd był dla mnie jedynie spełnioną we śnie obiektywizacją wysiłku, jaki czyniłem na jawie, czy aby osiągnąć tajemnicę w miejscu, poza którego pozorem przeczuwałem ją, jak mi się to tak często zdarzało w *stronie Guermantes*, czy aby próbować przywrócić tę tajemnicę miejscu, którym pragnął poznać, a które od dnia, gdy je poznałem, wydało mi się całkowicie fikcyjne<sup>53</sup>, jak Balbec? Czy były jedynie obrazem całkiem świeżym, wyrwanym ze snów wczorajszej nocy, ale tak już zatartym, że zdawał mi się znacznie dawniejszy? Lub może nie widziałem tych drzew nigdy i może kryły za sobą, jak jakieś drzewa i trawy widziane w *stronie Guermantes*, sens równie tajemniczy, równie trudny do pochwycenia jak odległa przeszłość; tak iż wzywany przez nie do zgłębienia myśli, sądziłem, że mam rozpoznać wspomnienie? A może nie kryły nawet myśli; może to po prostu znużenie mojej wizji ukazywało mi je podwójnie w czasie, jak się czasem widzi podwójnie w przestrzeni? Nie wiedziałem. Tymczasem one szły ku mnie; może zjawisko mistyczne, ront czarownic lub wiedźm, częstujący mnie swymi wróżbami. Sądziłem raczej, że to są widma przeszłości, drodzy towarzysze mego dzieciństwa, zgubieni przyjaciele, przywołujący nasze wspólne wspomnienia. Niby cienie, zdawały się prosić mnie, abym je wziął z sobą, abym je wrócił życiu. W ich naiwnej i namiętnej gestykulacji rozpoznawałem bezsilny żal istoty kochanej, która straciwszy mowę, czuje, że nie będzie nam mogła wyrazić, czego chce, a czego nie umiemy odgadnąć. Niebawem na skrzyżowaniu dróg powóz opuścił te drzewa. Unosił mnie — podobny w tym do mojego życia — daleko od tego, com uważał za jedynie prawdziwe, od tego, co by mnie uczyniło naprawdę szczęśliwym.

Widziałem, jak drzewa oddalają się, poruszając rozpaczliwie rękami, zdając się mówić do mnie: „Czego się nie dowiesz od nas dzisiaj, nie dowiesz się nigdy. Jeżeli nam pozwolisz opaść na dno tej drogi, skąd sililiśmy się wspiąć do ciebie, ten sekret o tobie, któryśmy ci przynosiły, osunie się na zawsze w nicość”. W istocie, o ile później odnajdywałem rodzaj przyjemności i niepokoju, jakie odczułem w tej chwili jeszcze raz, i jeżeli pewnego wieczora — za późno, ale na zawsze — przywiązałem się do nich, w zamian za to nie dowiedziałem się nigdy, co mi chciały przynieść te drzewa, ani gdzie je widział. I kiedy powóz skręcił, kiedy się obróciłem do nich plecami i przestał je widzieć, gdy pani de Villeparisis pytała mnie, czemum się zamyślił, byłem smutny tak, jak gdybym stracił przyjaciela, jak gdybym sam umarł, zaparł się umarłego lub wyrzekł się Boga.

Trzeba było myśleć o powrocie. Pani de Villeparisis, która miała niejakić poczucie przyrody, chłodniejsze niż babka, ale zdolne rozpoznać, nawet poza muzeami i arystokratycznymi rezydencjami, proste i majestatyczne piękno pewnych dawnych rzeczy, mówiła stangretowi, aby wracał do Balbec starą drogą, mało uczęszczaną, ale obsadzoną wspinałymi starymi wiazami.

Skorośmy już dobrze poznali tę starą drogę, wówczas dla odmiany wracaliśmy (o ileśmy nie jechali tamtędy z domu) inną, wiodącą przez lasy Chantereine i Canteloup. Niewidzialność bezliku ptaków, które nawoływały się tuż obok nas w drzewach, dawała to samo wrażenie spoczynku, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Przykuty do przedniej ławeczki jak Prometeusz do skały, słuchałem swoich oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem ptaka przelatującego z jednego liścia na drugi, tak mało widoczny był węzeł między nim a tymi śpiewami, że nie odczuwałem ich źródła w podskakującym ciałku, zdziwionym i pozbawionym spojrzenia.

Ta droga przypominała wiele innych we Francji; szła pod górę dosyć bystro, potem zniżala się na długiej przestrzeni. W danej chwili nie znajdowałem w niej zbyt uroku; byłem tylko rad, że wracam. Ale stała się ona dla mnie później przyczyną radości, pozostając w mojej pamięci niby haczyk, na który wszystkie podobne drogi, jakie miałem przebywać w ciągu spacerów lub podróży, chwytaly się natychmiast bez przerwy ciągłości i mogły dzięki niemu zetknąć się bezpośrednio z moim sercem. Z chwilą bowiem gdy powóz lub samochód zapuściły się w jedną z owych dróg, będących niby dalszym ciągiem tej, którą przebywałem z panią de Villeparisis, odnajdywałem (gubiąc wszystkie pośrednie lata) wrażenia owych schyłków dnia, spacerów robionych w okolice Balbec, kiedy liście pachniały, kiedy podnosiła się mgła i kiedy za najbliższą wioską widziało się

<sup>53</sup>fikcyjne — w innym wydaniu, w tym samym tłumaczeniu: nieciekawe. [przypis edytorski]

poprzez drzewa zachód słońca niby jakąś dalszą miejscowość leśną, odległą, dokąd nie dotrze się tego wieczora. I moja doraźna świadomość wspierała się natychmiast na tym, jak na najświeższej przeszłości. Owe wrażenia, wiążące się z wrażeniami, jakich doznawałem teraz w innych stronach, na podobnej drodze, spowite we wszystkie uboczne a wspólne im uczucia swobodnego oddechu, ciekawości, lenistwa, apetytu, wesela — wrażenia te, tłumiąc wszystkie inne, krzepiły się, zagęszczały w swoisty typ przyjemności, niemal ramę istnienia, które rzadko zresztą miałem sposobność odnaleźć, ale w którym zbudzone wspomnienia w materialną percepcję rzeczywistości wnosili część rzeczywistości wywołanej, wyśnionej, niepochwytnej, wystarczającą, aby wśród okolic, jakimi przejeżdżałem, wzbudzić we mnie — ponad wszelkie wrażenia estetyczne — ulotną lecz namiętną chęć pozostania tam na zawsze. Ileż razy, przez to jedynie, żem poczuł zapach liści, siedzieć na ławeczce na wprost pani de Villeparisis, minąć księżnę de Luxembourg kiwającą nam dłonią ze swego powozu, wracać na obiad do Grand Hotelu, objawiło mi się jako jedno z owych niewysłowionych szczęść, jakich nie może nam wrócić ani obecność, ani przyszłość, jakich kosztuje się tylko raz w życiu.

Często, zanim wróciliśmy, zapadł już zmrok. Pokazując pani de Villeparisis księżyc, cytowałem nieśmiało jakieś piękne wyrażenie Chateaubrianda, Alfreda de Vigny lub Wiktora Hugo: „Księżyc rozlewał odwieczną tajemnicę melancholii” albo: „płacząca niby Diana na źródlanym brzegu”, albo: „Zapadał cień weselny, dostojny, wspaniały”.

— I panu się to wydaje piękne? — pytała. — „Genialne”, jak pan powiada! Powiem panu, iż zawsze się dziwię, widząc, jak się teraz bierze na serio rzeczy, z których przyjaciele tych panów, mimo iż oddając pełną sprawiedliwość ich talentom, pierwsi sobie żartowali. Nie rozdawało się tak tytułu geniuszów jak dziś. Dziś, kiedy pan powie po prostu komu, że ma talent, pisarz bierze to za obrazę. Cytuje mi pan apostrofę pana de Chateaubriand o księżycu. Zobacz pan, że mam swoje racje, aby nie dzielić pańskiego entuzjazmu. Pan de Chateaubriand bywał często u mojego ojca. Był zresztą miły, kiedy był sam, wówczas był prosty i dowcipny; ale skoro tylko było więcej osób, zaczynał pozować i robił się śmieszny; opowiadał na przykład przy ojcu, jak rzucił w twarz królowi swoją dymisję i jak urabiał w Rzymie konklawe, zapominając że ojciec na jego prośbę chodził do króla, błagając, aby go król wziął z powrotem; toż samo ojciec słyszał pana de Chateaubriand stawiającego co do wyboru papieża najniedorzeczniejsze horoskopy. Trzeba było słyszeć, co o tym sławnym konklawe mówił pan de Blacas, człowiek innego pokroju niż pan de Chateaubriand! Co się tyczy jego frazesów księżycowych, te stały się u nas w domu po prostu ulubioną zabawą. Za każdym razem, kiedy świecił księżyc koło pałacu, jeżeli był jakiś nowy gość, radzono mu, aby wyciągnął pana de Chateaubriand trochę do ogrodu po obiedzie. Kiedy wracali, ojciec zawsze brał gościa na bok. „Pan de Chateaubriand był bardzo wymowny?” — „Och, tak!” — „Mówił panu o blasku księżyca?” — „Tak, skąd pan wie?” — „Zaczekaj pan, czy nie powiedział panu...” (i ojciec cytował frazes). — „Owszem, ale jakim cudem...” — „I mówił panu także o księżycu nad Campagna Romana?” — „Ależ pan jest czarownik”. Ojciec nie był czarownik, ale pan de Chateaubriand miał zwyczaj stale częstować wszystkich tym samym gotowym kawałkiem.

Nazwisko Alfreda de Vigny pobudziło margrabinę do śmiechu.

— Ten który mówił: „Jestem hrabia Alfred de Vigny”. Jest się hrabią, albo się nie jest hrabią, to nie ma najmniejszego znaczenia.

Ale może uważała, że to jednak ma trochę znaczenia, bo dodawała:

— Zresztą nie jestem pewna, czy on był hrabią; w każdym razie był z bardzo skromnej rodziny, ten jegomość, który mówił w wierszach o swoim „rycerskim pióropuszu”... Jakie to pełne smaku i jakie zajmujące dla czytelnika! To tak jak Musset, zwykły mieszczanin paryski, powiadał z emfazą: „Ten złoty jastrząb, co szyszak mój zdobi”. Nigdy prawdziwy wielki pan nie mówi podobnych rzeczy. Przynajmniej Musset jako poeta miał talent. Ale pana de Vigny, poza jego *Cinq-Marsem*, nie mogłam nigdy czytać; z nudów wypada mi książka z ręki. Pan Molé, który miał tyle dowcipu i taktu, ile ich nie dostawało panu de Vigny, ładnie go urządził, przyjmując go w Akademii. Jak to, nie zna pan jego przemówienia? To arcydzieło złośliwości i impertynencji!

Balzakowi zarzucała pani de Villeparisis — dziwiąc się uwielbieniu swoich siostrzeńców dla tego pisarza — że miał pretensje malować towarzystwo, „gdzie go nie przyjmowano” i o którym opowiadał tysiąc nieprawdopodobieństw. Co do Wiktora Hugo,

powiadała, że ojciec jej, pan de Bouillon, który miał przyjaciół wśród młodych romantyków, dostał się dzięki nim na premierę *Hernaniego*, ale nie mógł wytrwać do końca, tak mu się wydawały pocieszne wiersze tego pisarza, zdolnego, ale przesadnego, który otrzymał tytuł wielkiego poety jedynie na zasadzie dobitego targu, w nagrodę swojej interesownej pobłażliwości dla niebezpiecznych bredni socjalistów.

Widzieliśmy już hotel, jego światła, tak mi wrogie w dniu naszego przybycia pierwszego wieczora, teraz opiekuńcze i słodkie, zwiastunki domowego ogniska. I kiedy powóz zajechał przed bramę, odźwierny, groomy, „lift”, skwapliwi, naiwni, lekko zaniepokojeni naszym zapóźnieniem się, skupieni na schodach w oczekiwaniu, stali się nam bliscy, stali się kimś z rzędu owych istot, które zmieniają się tyle razy w ciągu naszego życia, jak my zmieniamy się sami, ale w których wiernym i przyjacielskim odbiciu znajdujemy słodczy w chwili, gdy są czasowym zwierciadłem naszych przyzwyczajęń. Wolimy ich od niewidzianych od dawna przyjaciół, bo zawierają więcej tego, czym jesteśmy w danej chwili. Jedynie młodego „strzelca”, wystawionego na słońce w ciągu dnia, schowano do domu, chroniąc go przed wieczornym chłodem, zakutanego w wełny, które, w połączeniu z pomarańczowym zapłakaniem jego włosów oraz z oryginalnie różowym kwiatem jego policzków, rodziły, w ramie oszklonego hallu, myśl o jakiejś cieplarnianej roślinie, chronionej od zimna. Wysiadaliśmy z powozu, wspomagani przez znacznie większą ilość domowników, niż to było potrzebne; ale wszyscy oni czuli ważność sceny i poczuli się do grania w niej roli. Byłem zgłodniały. Toteż często, aby nie opóźnić chwili obiadu, nie szedłem do pokoju (który stał się w końcu tak rzeczywiście *moim*, że widzieć wielkie fioletowe portiere i niskie szafy z książkami znaczyło znaleźć się sam na sam z owym *ja*, którego obraz nastęrczały mi tak rzeczy jak ludzie), ale czekaliśmy wszyscy razem w hallu, aż zarządzający oznajmi nam, że dano do stołu. Dawało to nam jeszcze sposobność posłuchania pani de Villeparisis.

— Nadużywamy pani — mówiła babka.

— Ale skądże, jestem zachwycona, niezmiernie mi miło — odpowiadała z czarującym uśmiechem, wokalizując słowa melodyjnym tonem, stanowiącym kontrast z jej zwykłą prostotą

Bo też w istocie w tych chwilach nie była naturalna; pamiętała o swoim wychowaniu, o arystokratycznych fasonach, jakimi wielka dama powinna ludziom „nieurodzonym” okazywać, że jej jest miło przebywać z nimi, że nie jest dumna. I jedyną skazą jej prawdziwej grzeczności był nadmiar grzeczności; czuło się w tym zawodową rutynę damy z Faubourg Saint-Germain, która, przeczuwając stale w ludziach z innej sfery rozgorzyczenie, o jakie będzie ich musiała przyprawić któregoś dnia, korzysta skwapliwie ze wszystkich okazji, aby w księdze handlowej własnej dla nich uprzejmości wzmocnić swoje konto pozycją, pozwalającą jej niebawem wpisać w rubryce *debet* obiad lub raut, na który ich nie zaprosi. W ten sposób geniusz kasty, urobiwszy margrabinę raz na zawsze i nie wiedząc, że obecnie warunki są odmienne, osoby inne i że w Paryżu pragnęłyby nas widzieć u siebie często, skłaniał ją z gorączkową skwapliwością — tak jakby czas użyczony na uprzejmość wobec nas był krótki — do tego, aby póki jesteśmy w Balbec, mnożyła przesyłki róż, melonów i książek, spaceru powozem i wylewy przyjaźni. I dzięki temu — w tej samej mierze co ośniewająca słoneczność plaży, co wielobarwne, promienne i podoceaniczne blaski pokoiów, co nawet lekcje konnej jazdy, które synów kupca przebóstwiły dla mnie w Aleksandra Macedońskiego — codzienne grzeczności pani de Villeparisis oraz przejściowa, sezonowa łątwość, z jaką babka je przyjmowała, zostały w *moim* wspomnieniu jako charakterystyczne dla życia w kąpielach morskich.

— Oddajcież płaszcz, niech je zaniosą na górę.

Babka oddawała rzeczy dyrektorowi, ja zaś, z przyczyny jego uprzejmości dla mnie, byłem zmartwiony tym brakiem względów, od którego dyrektor zdawał się cierpieć.

— Zdaje się, że ten pan jest urażony — rzekła margrabina. — Uważa się prawdopodobnie za nazbyt wielkiego pana, aby wziąć wasze szale. Przypominam sobie, kiedy byłam jeszcze bardzo mała, księcia de Nemours, jak wszedł do ojca, który mieszkał na najwyższym piętrze pałacu Rouillon, z wielką paczką listów i dzienników. Zdaje mi się, że widzę księcia w niebieskim fraku, stojącego w naszych drzwiach, miały takie ładne boazerie, zdaje mi się, że to Bagard robił, wiecie, te kwiaty, te delikatne gałązki takie gibkie, że snyczer czasami zakręcał je w małe kokardki, niby wstążki wiążące bukiet. „Masz, Cy-

rusie — rzekł książę de Nemours do ojca — odźwierny dał mi to dla ciebie. Powiedział: »Skoro pan idzie do pana hrabiego, nie warto mi się drapać po schodach; tylko niech pan uważa, żeby się nie rozsypało«. Teraz, kiedyście oddali swoje rzeczy, siadajcie, ot, niech kochana pani siada tu — rzekła do babki, biorąc ją za rękę.

— Och, jeżeli to pani nie robi różnicy, nie na tym fotelu! Za mały jest na dwoje, ale za duży dla mnie samej, źle bym się czuła na nim.

— Przypomina mi pani (bo to był zupełnie taki sam) jeden fotel, który długo był u mnie, ale którego w końcu nie miałam serca zachować, bo go dała mojej matce ta nie-szczęśliwa księżna de Praslin. Matka moja, osoba najprostsza w świecie, ale z pojęciami innej epoki, których ja już nie bardzo rozumiałam, nie chciała z początku dać się przedstawić pani de Praslin, która była z domu tylko panna Sebastiani; tamta znowuż, niby że księżna, uważała, że nie może się przedstawić pierwsza. I w istocie — dodała pani de Villeparisis, zapominając, że nie rozumie tego rodzaju odcieni — gdyby była bodaj panią de Choiseul, można by usprawiedliwić jej pretensje. Choiseul to jest nie byle co, wiodą się od siostry Ludwika Otylego, to byli prawdziwi monarchowie w Bassigny. Uznaję, że my ich przewyższamy parantelami i znakomitością, ale starożytność jest prawie równa. Z tej kwestii pierwszeństwa wynikły komiczne zdarzenia, na przykład śniadanie spóźnione o dobrą godzinę, którą strawiono na tym, aby jedną z tych pań nakłonić do prezentacji. Mimo to zaprzyjaźniły się później serdecznie. Księżna dała matce ów fotel w rodzaju tego tutaj, w którym, tak jak kochana pani teraz, nikt nie chciał usiąść. Pewnego dnia matka słyszy powóz w dziedzińcu. Pyta lokajczyka, kto to taki. „To księżna de la Rochefoucauld, pani hrabino”. „A, dobrze, prosić”. Po kwadransie nie ma nikogo. „I cóż księżna de la Rochefoucauld, gdzie ona jest?”. „Na schodach, sapie, pani hrabino”, odparł lokajczyk, od niedawna przybyły ze wsi, skąd matka zazwyczaj ich brała. Często była świadkiem ich urodzenia. W ten sposób ma się w domu znacznych ludzi, a to jest najpierwszy zbytek. W istocie księżna de La Rochefoucauld z trudem wchodziła na schody, była olbrzymia, tak olbrzymia, że kiedy weszła, matka była przez chwilę niespokojna, myśląc, gdzie by ją posadzić. Naraz nasunął się jej oczom mebel ofiarowany przez panią de Praslin: „Niechże pani zechce usiąść”, rzekła matka, podsuwając fotel. I księżna wypełniła go po brzegi. Mimo tych rozmiarów, została dosyć ponętna. „Jeszcze robi pewien efekt, kiedy wchodzi”, mówił jeden z naszych przyjaciół. „Zwłaszcza kiedy wychodzi”, odparła matka, która była swobodniejsza w słowach, niżby to było dopuszczalne dzisiaj. Nawet przy pani de La Rochefoucauld nie krępowano się, żartując z jej potężnych wymiarów, z czego się ona śmiała pierwsza. „Jak to, książę jest sam?”, spytała raz pana de La Rochefoucauld moja matka, gdy, przyszedłszy z wizytą do księżnej i witana w drzwiach przez jej męża, nie zauważyła żony siedzącej w głębi. „Czy pani de la Rochefoucauld nie ma? Nie widzę jej”. „Jaka pani uprzejma!”, odparł książę, najbardziej pomyłona głowa jaką znałam, ale niepozabawiony pewnego dowcipu.

Po obiedzie, kiedyśmy poszli do siebie, mówiłem babce, że przymioty, jakie nas zachwycają w pani de Villeparisis, takt, subtelność, dyskrecja, umiar, nie są może zbyt cenne, skoro ludźmi posiadającymi je w najwyższym stopniu byli jedynie panowie Molé i Loménie. Jeżeli brak tych zalet (mówiłem) może być przykry na co dzień, bądź co bądź, brak ten nie przeszkodził zostać Chateaubriandem, Vignym, Wiktorem Hugo, Balzakiem pyszałkom, którzy nie mieli zdrowego sądu o rzeczach i z których łatwo było drwić jak z Blocha...

Ale na nazwisko Blocha babka okrzyknęła się. I zaczęła wychwalać panią de Villeparisis. Tak jak w miłości upodobaniami naszymi kieruje podobno geniusz gatunku, który, iżby dziecko było ukształtowane najnormalniej, każe mężczyznom tłustym poszukiwać kobiet chudych, a chudym tłustych, tak samo wymagania mego szczęścia, zagrożonego neurastenią, chorobliwą skłonnością do smutku i samotności, kazały podświadomie babce przyznawać pierwsze miejsce nocie zrównowazenia i rozsądku. Zalety te były właściwe nie tylko pani de Villeparisis, ale towarzystwu, gdzie mógłbym znaleźć rozrywkę, ukojenie, gdzie rozkwitał duch takiego Doudana lub Rémusata, aby nie rzecz Jouberta lub jakiejś Beausergent i Sévigné; duch dający w życiu więcej godności i szczęścia niż wyrafinowania wiodące jakiegoś Baudelaire’a, Poego, Verlaine’a, Rimbauda do cierpień lub hańby, których babka nie chciała dla wnuka. Przerwałem, aby ją uściskać, i spytałem, czy zauważyła jakieś powiedzenie pani de Villeparisis, którym zdradziła się jako osoba więcej

przywiązująca wagi do urodzenia, niż się do tego przyznaje. W ten sposób przedkładałem babce swoje wrażenia, wiedząc dopiero wówczas, jak mam kogoś oceniać, gdy ona mi to wskazała. Co wieczór przynosiłem jej wzorki, zdjęte w ciągu dnia ze wszystkich tych nieistniejących istot, niebędących nią. Raz powiedziałem jej:

— Bez ciebie nie mógłbym żyć

— Ależ nie, nie trzeba — rzekła wzruszona. — Trzeba starać się mieć twardsze serce. Inaczej co by się z tobą stało, gdybym wyjechała w podróż. Przeciwnie, mam nadzieję, że będziesz bardzo rozsądny i bardzo szczęśliwy.

— Potrafiłbym być rozsądny, gdybyś wyjechała na kilka dni, ale liczyłbym godziny.

— Ale gdybym wyjechała na miesiące... — (Na samą tę myśl serce mi się ścisnęło) — na lata... na...

Zamilkliśmy oboje. Nie śmieliśmy na siebie popatrzeć. Ale bardziej cierpiałem od jej niepokoju niż od własnego. Toteż zbliżyłem się do okna i wyraźnie powiedziałem, odwracając oczy:

— Ty wiesz, jak ja podlegam przyzwyczajeniu. W pierwszych dniach po rozstaniu się z osobami, które kocham najbardziej, czuję się nieszczęśliwy. Ale potem, wciąż kochając je tak samo, przyzwyczajam się jednak, życie płynie mi spokojnie i mile; mógłbym żyć bez nich miesiące, lata...

Musiałem zamilknąć, całkiem odwróciłem się do okna. Babka wyszła na chwilę z pokoju. Ale nazajutrz zacząłem mówić o filozofii; i najobjętniejszym tonem, ale tak, aby ściągnąć uwagę babki na swoje słowa, powiedziałem, że ciekawe jest, iż, wedle ostatnich odkryć wiedzy materializm jak gdyby zbankrutował, i że jeszcze najprawdopodobniejsza jest wieczność dusz i ich przyszłe połączenie.

Pani de Villeparisis uprzedziła nas, że niebawem przyjdzie jej widywać nas mniej często. Siostrzeniec jej, młody człowiek gotujący się do egzaminu w Saumur, a obecnie pełniący służbę wojskową w pobliskim Doncieres, miał przyjechać, aby z nią spędzić parotygodniowy urlop, tak iż będzie mu poświęcała dużo czasu. W ciągu spaceru bardzo nam chwaliła jego niezwykłą inteligencję, zwłaszcza jego dobre serce; już sobie wyobrażałem, że on nabierze sympatii do mnie, że się stanę jego najbliższym przyjacielem; kiedy zaś przed jego przyjazdem pani de Villeparisis dała babce do zrozumienia, że na nieszczęście, ten młody człowiek dostał się w szpony niegodziwej kobiety, za którą szaleje i która go nie wypuści, wówczas, przekonany, iż tego rodzaju miłość kończy się nieuchronnie obłędem, zbrodnią i samobójstwem, myśląc o tym, jak krótki czas przeznaczony jest naszej przyjaźni, już tak wielkiej w moim sercu, zanim go jeszcze ujrzałem, płakałem nad tą przyjaźnią i nad nieszczęściami, jakie ją czekają, niby nad drogą istotą, o której dowiadujemy się, że jest poważnie chora i że jej dni są policzone.

W pewne upalne popołudnie znajdowałem się w jadalni, którą zostawiono na wpół w mroku, aby ją chronić od słońca, zasuwając firanki, żółte od blasku i przepuszczające miejscami migotliwy błękit morza, kiedy na ścieżce wiodącej od plaży do drogi ujrzałem wysokiego młodego człowieka, szczupłego, z giętką szyją, z dumnie podniesioną głową, o bystrym spojrzeniu. Skóra jego była tak jasna, a włosy tak złote, jak gdyby wchłonęły wszystkie promienie słońca. Szedł szybko, odziany w miękką i jasną materię (nigdy nie byłbym sądził, aby mężczyzna ośmielił się włożyć coś podobnego), której lekkość uzmysławiała — nie mniej niż chłód jadalni — upał i pogodę na dworze. Oczy jego (z jednego wciąż wypadła monokl) były koloru morza. Każdy przyglądał mu się z ciekawością; wiadano, że ten młody margrabia de Saint-Loup-en-Bray sławny jest z elegancji. Wszystkie dzienniki opisały strój, w jakim świeżo służył za świadka w pojedynku młodemu księciu d'Uzès. Zdawało się, że tak osobliwe właściwości włosów, oczu, skóry, postawy, które byłyby go wyróżniły w tłumie niby szacowną żyłą mieniącego się i lśniącego opalu uwięzioną w pospolitej materii, muszą odpowiadać życiu różnemu od egzystencji innych ludzi. I kiedy, przed stosunkiem, nad którym bolała pani de Villeparisis, wydierały go sobie najpiękniejsze damy wielkiego świata, obecność jego, na plaży na przykład, obok renomowanej piękności, do której się zalecał, nie tylko wysuwała tę osobę na pierwszy plan, ale ściągała uwagę tyleż na niego co na nią. Z powodu jego „szyku”, jego impertynencji młodego „lwa”, zwłaszcza z powodu jego nadzwyczajnej urody, niektórzy dopatrywali się w nim czegoś zniewieściałego, ale nie w formie zarzutu, wiadano bowiem, jak bardzo jest męski i jak namiętnie kocha kobiety.

Był to ów siostrzeniec pani de Villeparisis, o którym nam mówiła. Byłem oczarowany myślą, że będę z nim obcował przez kilka tygodni; pewien byłem, że mnie pokocha. Przeszedł szybko aleję wiodącą wzdłuż hotelu, zdając się ścigać monokl, który bujał przed nim jak motyl. Wracał z plaży, a morze, sięgające do połowy oszklenia hallu, stwarzało mu tło, na którym odcinał się cały, jak na pewnych portretach, gdzie malarz — nie zbacząc od najściślejszej obserwacji współczesnego życia, ale wybierając dla swego modelu właściwą ramę — teren polo lub golfa, pole wyścigowe, pokład jachtu — pragnie dać nowoczesny ekwiwalent owych płócien, na których prymitywi wyobrażali ludzką twarz na tle krajobrazu. Dwukonny powóz czekał nań przed bramą; i podczas gdy monokl podejmował swoje igraszki na zalanej słońcem drodze, siostrzeniec pani de Villeparisis, z elegancją i mistrzostwem, jakie wielki pianista umie rozwinąć w najprostszym szczególe, na pozór niedającym pola do wykazania swej wyższości, ujął lejce z rąk stangreta, usiadł koło niego i otwierając równocześnie list, który mu oddał dyrektor hotelu, ruszył.

Jakiegoż zawodu doznałem w następne dni, kiedy, za każdym razem gdy mnie mijał na plaży lub w hotelu — z podniesioną głową, wciąż zestrzajając swoje ruchy z uciekającym i tańczącym monoklem, który zdawał się ich środkiem ciężkości — mogłem sobie zdać sprawę, że on nie stara się zbliżyć do nas. Nie kłaniał się nam nawet, mimo iż musiał wiedzieć, że jesteśmy w przyjaźni z jego ciotką! I, przypominając sobie uprzejmość pani de Villeparisis, a przedtem pana de Norpois, myślałem, że może oni są takim sobie państwem „na niby” i że tajemny artykuł kodeksu rządzącego arystokracją pozwala może kobietom i pewnym dyplomatom w ich stosunkach z mieszczaństwem i dla nieznaney mi przyczyny porzucić sztywność, jakiej winien natomiast bezlitośnie przestrzegać młody margrabia. Inteligencja moja powinna mi była mówić coś wręcz przeciwnego. Ale właściwością głupiego wieku, jaki przechodziłem — wieku bynajmniej nie niewdzięcznego, raczej bardzo płodnego — jest to, że się wówczas człowiek w niczym nie radzi inteligencji i że najblahsze cechy danych istot zdają się niepodzielnie kojarzyć z ich osobowością. Otoczony samymi potworami i bogami, człowiek nie zna wówczas spokoju. Nie ma bodaj ani jednego gestu z owej doby, którego byśmy później nie chcieli unicestwić. Ale powinni byśmy raczej żałować, że już nie posiadamy bezpośredniości, która kazała nam spełniać te gesty. Później widzimy rzeczy praktyczniej, w zupełnej zgodzie z resztą społeczeństwa; ale młodość to jedyny czas, kiedy się człowiek czegoś nauczył.

Ta arogancja, jaką odgadywałem w młodym Saint-Loup, i cała wrodzona twardość, której była dowodem, znalazła potwierdzenie w jego wzięciu za każdym razem, kiedy przechodził koło nas, z ciałem wyprostowanym, z wciąż podniesioną głową, ze spojrzeniem niewzruszonym — więcej jeszcze: nieubłagany, wyzuty z owego zdawkowego szacunku, jaki się ma dla praw innych istot, nawet gdy nie znają naszej ciotki; z owego szacunku, który sprawiał, iż starsza dama nie była dla mnie zupełnie tym samym, co na przykład płomyk gazu. Ten lodowaty chłód był równie daleki od uroczych listów, jakie — w mojej wyobraźni — pisał do mnie jeszcze przed kilku dniami, aby mi wyrazić swoją sympatię, jak dalekim jest od entuzjazmu sali sejmowej pokątny marzyciel bez talentu, który — również we własnej wyobraźni — porywa lud swoim niezapomnianym przemówieniem, i pomarzywszy tak samotnie i głośno o sobie samym, skoro raz zamilkną urojone oklaski, zostaje ciemięgą jak wprzódy.

Pani de Villeparisis — zapewne, aby zatrzeć złe wrażenie, jakie na nas zrobiły te pozory, zdradzające naturę próżną i twardą — znów zaczęła mówić o niewyczerpanej dobroci swego ciotecznego wnuka (był synem jej siostrzenicy, nieco starszy ode mnie). Podziwiałem, jak w wielkim świecie, z podeptaniem wszelkiej prawdy, używa się przymiotów serca ludziom mającym serce tak oschłe, choćby poza tym byli uprzejmi dla wytwornych osób z ich własnego świata. Pani de Villeparisis przyczyniła się nawet sama — mimo że nie wprost — do potwierdzenia zasadniczych (i niewątpliwych już dla mnie) rysów swego siostrzeńca w dniu, gdym ich spotkał oboje na ścieżce tak wąskiej, że nie pozostawało jej nic, jak przedstawić mnie młodemu człowiekowi. Robił wrażenie, że po prostu nie słyszy; żaden mięsień jego twarzy nie drgnął; oczy, w których nie zabłysnął najlżejszy ślad ludzkiego uczucia, jedynie w pustce i obojętności spojrzenia objawiły przesadę, bez której nic by ich nie różniło od martwego zwierciadła. Następnie, wlepiając we mnie te twarde oczy tak, jakby chciał o mnie zebrać informacje, zanim mi odda ukłon, nagłym rzutem wyglądającym raczej na odruch mięśni niż na akt woli, wprowadzając możliwie

największą przestrzeń między mnie a siebie, wyciągnął ramię na całą długość i podał mi na dystans rękę. Kiedy nazajutrz przesłał mi swój bilet wizytowy, sądziłem, że chodzi co najmniej o pojedynek. Ale w czasie wizyty mówił wyłącznie o literaturze i po długiej gawędzie oświadczył, że bardzo chciałby mnie widywać codziennie po kilka godzin. W czasie tej wizyty nie tylko złożył dowody żywych zainteresowań intelektualnych, ale okazał mi sympatię, nie bardzo godzącą się z wczorajszym ukłonem. Widząc, iż powtarza ten ukłon za każdym razem, kiedy mu kogoś przedstawiano, zrozumiałem, że to jest prosty nawyk światowy, właściwy większości jego rodziny. Matka, dbając o to, aby syn był doskonale wychowany, wdroyła jego ciało do tego rodzaju gestów; wykonywał je tak samo, nie myśląc o tym, jak o swoich pięknych ubraniach i pięknych włosach; była to rzecz pozbawiona duchowego znaczenia, jakie jej zrazu przypisywałem; rzecz wyłącznie nauczona, jak ów inny jego nawyk: natychmiast kazać się przedstawiać krewnym poznanej osoby. To również stało się u niego tak instynktowne, że, widząc mnie nazajutrz po naszym spotkaniu, rzucił się na mnie i nie witając się, poprosił, abym go przedstawił babce, stojącej obok; i to tak gorączkowo, jak gdyby to niecierpiące zwłoki żądanie płynęło z jakiegoś instynktu samoobrony, coś jak zasłonięcie się przed ciosem lub zamknięcie oczu wobec strumienia wrzącej wody, pod grozą niebezpieczeństwa.

Jak złośliwa wróżka zrzuca swój dawny kształt i obleka się w czarodziejskie wdzięki, tak samo, po dopełnieniu pierwszych egzorcyzmów, ten wzgardliwy młodzieniec okazał się najmiłszym, najuprzejmiejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek znałem. „Ba! — powiedziałem sobie — już raz się co do niego pomyliłem, padłem ofiarą złudy; ale rozstałem się z pierwszym złudzeniem po to, aby popaść w drugie, bo to jest wielki pan, pokrywający swoją pańską dumę”. Otóż całe urocze wychowanie, cała uprzejmość młodego Saint-Loup miały mi w istocie po pewnym czasie ukazać innego człowieka, ale bardzo odmiennego od tego, któremu się domyślał.

Ten młody człowiek, mający minę arystokraty i znudzonego sportsmena, miał cześć i zainteresowanie wyłącznie dla rzeczy intelektualnych, zwłaszcza dla owych „modernizmów” literatury i sztuki, które się tak śmieszne zdawały jego ciotce; z drugiej strony nasycony był tym, co ona zwała socjalistyczną frazeologią, a przejęty najgłębszą wzgardą dla swojej kasty. Godziny całe spędzał na zgłębianiu Nietzschego i Proudihona. Był to jeden z owych „intelektualistów”, skorych do podziwu, żyjących książką, pochłoniętych wyłącznie myślą. I nawet wyraz tej jego tendencji, wielce abstrakcyjnej i tak oddalającej go od zwykłych moich zainteresowań, wydawał mi się wzruszający, ale mnie nudził trochę. Mogę rzec, iż, kiedy już dobrze wiedział, kim był jego ojciec, w dniu, w które czytałem pamiętniki pełne anegdot o owym sławnym hrabi de Marsantes, streszczającym tak specjalną elegancję odległej już epoki, wówczas z duszą pełną rojeń, żądny dokładnie poznać życie, jakie pędził pan de Marsantes, wściekałem się, że Robert de Saint-Loup, zamiast być po prostu synem swego ojca, zamiast móc służyć mi za przewodnika po owym niemodnym romansie, jakim była egzystencja hrabiego, wznosił się aż do kultu Nietzschego i Proudihona. Ojciec jego nie byłby podzielił moich żalów. On sam był człowiekiem inteligentnym, wychodzącym poza ramy światowca. Nie bardzo miał czas poznać syna, ale pragnął, aby był więcej wart od niego. I sądzę, że, na wspak reszcie rodziny, byłby go podziwiał, byłby rad, że syn porzucił dla surowych medytacji to, co stanowiło jego mizerne rozrywki, i nie zdradzając się z tym, w swojej skromności inteligentnego wielkiego pana, byłby czytał w sekrecie ulubionych autorów syna, aby ocenić, o ile Robert go przerasta.

Dosyć smutne było, że o ile pan de Marsantes byłby z taką szerokością spojrzenia ocenił syna tak różnego od siebie, Robert de Saint-Loup, będąc z tych, co wierzą, iż wartość człowieka wiąże się z pewnymi formami sztuki i życia, zachował tkliwą, ale cokolwiek lekceważącą pamięć ojca, przez całe życie pochłoniętego polowaniem i wyścigami, ziewającego na Wagnerze, a przepadającego za Offenbachem. Saint-Loup nie był dość inteligentny na to, aby zrozumieć, że wartość intelektualna nie ma nic wspólnego z wyznawaniem jakiejś formuły estetycznej; stąd miał dla intelektu pana de Marsantes po trosze ten sam rodzaj wzgardy, jaki mogliby mieć dla Boieldieu lub dla Labiche’a młody Boieldieu lub syn Labiche’a, będąc adeptami najbardziej symbolicznej literatury i najskomplikowańszej muzyki. „Bardzo mało znałem ojca — powiadał Robert. — Zdaje się, że to był uroczy człowiek. Jego nieszczęściem była żalosna epoka, w jakiej żył. Urodzić się w Faubourg Saint-Germain i żyć w epoce *Pięknej Heleny*, to istna katastrofa! Jako drob-



nomieszczanin rozkochany w *Ringu* stałby się może całkiem czymś innym. Mówiono mi nawet, że on kochał literaturę. Ale nie można wiedzieć, bo to, co on rozumiał pod literaturą, składa się z rzeczy nieistniejących”. I o ile mnie wydawał się Saint-Loup trochę za poważny, on znów nie pojmował, że ja nie jestem poważniejszy. Sądząc każdą rzecz jedynie wedle jej zawartości intelektualnej, nie pojmując uroków wyobraźni, kryjących się dla mnie w pewnych rzeczach, dla niego błahych, dziwił się, że ja — ja, od którego mniemał się o tyle niższym — mogę się nimi interesować.

Od pierwszych dni Saint-Loup zdobył sobie moją babkę, nie tylko nieustanną dobrocią, jaką rozwijał dla nas obojga, ale naturalnością, jaką wkładał w to — jak we wszystko. Otóż naturalność — z pewnością dlatego, że pod sztuką człowieka daje czuć naturę — była przymiotem, który babka ceniła nad wszystko; zarówno w ogrodach nie lubiła klombów zbyt regularnych — jak w Combray — w kuchni nie cierpiała owych kunsztownych dań, w których ledwie można rozpoznać pierwotne produkty; w technice pianisty nie lubiła zbytniego wymuskania, wylizania, mając nawet szczególną pobłażliwość dla zahaczeń i fałszów Rubinsteina. Naturalność tę ceniła nawet w stroju młodego Saint-Loup, swobodnie wykwiutnym, bez cienia „szykowca” lub „goga”, bez śladu jakiegokolwiek sztuczności i krochmalu. Bardziej jeszcze ceniła tego bogatego chłopca za niedbałą swobodę jego zbytku, nie „cuchnącego pieniędzmi”, pozbawionego pretensji; wdzięk tej prostoty widziała nawet w jego niezdolności do ukrycia jakiegokolwiek wzruszenia — właściwość znikająca zazwyczaj z dzieciństwem, wraz z pewnymi fizjologicznymi cechami tego wieku. Coś, czego na przykład pragnął i na co nie liczył, bodaj komplement, wyładowywało się w nim w radości tak naglej, tak palącej, tak lotnej i ekspansywnej, że niepodobna mu było powściągnąć jej i ukryć; skurcz przyjemności przebiegał natychmiast jego twarz; zbyt delikatna skóra policzków barwiła się żywym rumieńcem, oczy wyrażały zawstydzenie i uciechę. Babka była niezmiernie wrażliwa na ten pełen wdzięku wyraz szczerości i niewinności, który zresztą u Roberta, przynajmniej w epoce, gdy z nim żyłem blisko, nie kłamał. Ale znałem kogoś innego (a jest takich wielu), w którym fizjologiczna szczerość tego przelotnego rumieńca nie wykluczała bynajmniej fałszu; często dowodzi on jedynie żywości, z jaką natury zdolne do największych szalbierstw odczuwają przyjemność — tak mocno, że są bezbronne wobec niej, zmuszone przyznać się do niej przed innymi. Ale w czym zwłaszcza babka uwielbiała naturalność Roberta, to w jego sposobie wyznawania bez ogródek sympatii swojej do mnie; dla wyrażenia jej znajdował słowa, jakich babka sama — jak mówiła — nie umiałaby znaleźć, słowa najbardziej trafne i kochające, słowa, które byłyby podpisały „Sévigé i Beusergent”. Nie wahał się żartować z moich wad (a odgadł je z finezją, która ubawiła babkę), ale tak, jakby to ona zrobiła, tkliwie; podnosząc, przeciwnie, moje zalety z ogniem i z zapalem, nieznanymi zastrzeżeń ani chłodu, jakimi młodzi ludzie w jego wieku pragną sobie zazwyczaj przydać ważności. Upredztał moją najlżejszą niedyspozycję; okrywał mi nieznacznie nogi pledem, gdy się robiło chłodno; starał się zostać ze mną dłużej wieczorem, gdy czuł, że jestem smutny lub nerwowy; rozwijał czujność, którą, z punktu widzenia mojego zdrowia, wymagającego może raczej większego hartu, babka uważała niemal za przesadną, ale która wzruszała ją głęboko, jako dowód przywiązania.

Uświadomiliśmy sobie szybko, żeśmy się zaprzyjaźnili serdecznie i na zawsze. On mówił: „nasza przyjaźń”, tak jakby mówił o jakiejś ważnej i rozkosznej rzeczy, istniejącej na zewnątrz nas; nazwał niebawem tę przyjaźń — poza miłością do kochanki — największą radością swego życia. Te słowa zasmucały mnie niemal; byłem w kłopotcie, jak im odpowiedzieć; nie doznawałem bowiem w obecności Roberta, w jego rozmowie — i z pewnością byłoby tak z każdym innym — owego szczęścia, jakie, przeciwnie, mogłem odczuć, znalazłszy się bez wszelkiego towarzystwa. Czasami, będąc sam, czułem, że wzbiera we mnie jedno z owych wrażeń zanurzających mnie w rozkosznej błogości. Ale z chwilą, gdy byłem z kimś, gdy rozmawiał z przyjacielem, dusza moja zmieniała front; myśli moje zwracały się już ku towarzyszowi, a nie ku mnie samemu, idąc zaś w tym odwrotnym kierunku, nie sprawiały mi żadnej przyjemności. Rozstawszy się z Robertem, wprowadzałem, przy pomocy słów, jakiś porządek w bezładne minuty z nim spędzone; powiadałem sobie, że mam dobrego przyjaciela, że dobry przyjaciel to jest rzecz rzadka; ale otoczony owymi cennymi dobrami doznawałem uczucia wręcz przeciwnego wrodzonej mi rozkoszy, przeciwnego rozkoszy wywołania z samego siebie i wydobycia

na światło czegoś, co było ukryte we mnie w mroku. Kiedyś spędził parę godzin na rozmowie z Robertem i on podziwiał to, com mówił, doznawałem uczucia wyrzutu, żalu, zmęczenia, że nie został sam, aby wreszcie zacząć pracować. Ale powiadałem sobie, że nie można być inteligentnym tylko dla samego siebie, że najwięksi ludzie pragnęli, aby ich oceniono, że nie mogą uważać za stracone godzin, przez które zbudowałem wysokie pojęcie o mnie w umyśle mego przyjaciela; i przekonywałem łatwo samego siebie, że powinien być szczęśliwy, i pragnąłem nigdy tego szczęścia nie utracić, tym bardziej, że go nie odczuwał. Bardziej niż utraty innych dóbr, lękamy się zniknięcia tych, które zostały zewnątrz nas, bo serce nasze nie objęło ich w posiadanie. Czulem się zdolny praktykować wszystkie cnoty przyjaźni lepiej niż wielu (bo zawsze bym przekładał dobro przyjaciół nad owe interesy osobiste, do których wielu przywiązuje tyle wagi, a które dla mnie nie istniały), ale nie czulem się zdolny poznać radości przez uczucie, które zamiast wzmacniać zacierałoby różnice istniejące między moją duszą a duszą innych — takie, jakie zachodzą między duszami wszystkich ludzi.

W zamian za to, chwilami, myśl moja odnajdywała w Robertcie istotę bardziej ogólną niż on sam; „pana”, który, niby jakiś mieszkający w nim duch, poruszał jego członkami, kształtował jego gesty i czyny; wówczas, w tych chwilach, mimo że obok niego, byłem sam, niby wobec krajobrazu, którego bym pojął harmonię. Był już tylko przedmiotem, który myśl moja starała się zgłębić. Odnajdując w nim wciąż ową istotę dawniejszą, odwieczną, owego arystokratę, którym właśnie Robert starał się nie być, doznawałem żywej radości, ale siłą inteligencji, nie zaś przyjaźni. W moralnej i fizycznej zwinności, która dawała jego uprzejmościom tyle wdzięku, w swobodzie, z jaką sadzał babkę do swego powozu, w zręczności, z jaką zeskakiwał z kozła, kiedy się bał, że mi jest zimno, aby mi narzucić własny płaszcz, czulem nie tylko dziedziczną gibkość zawołanych myśliwych, jakimi byli od całych pokoleń przodkowie tego młodzieńca aspirującego jedynie do intelektu, ich wzgardę dla bogactwa, która istniejąc w nim obok upodobania w bogactwie, cenionym o tyle, o ile pozwalało mu raczyć przyjaciół, kazała mu tak niedbale kłaść swój zbytek u ich stóp; czulem w nim zwłaszcza pewność lub złudzenie, jakie mieli ci wielcy panowie, że są „czymś więcej od innych”, dzięki czemu nie mogli przekazać Robertowi de Saint-Loup owej chęci okazania, że się jest „tym samym co inni”, owego lęku okazania się za grzecznym, który mu był w istocie nieznany, a który daje coś tak brzydkiego i niezręcznego najszczerzej uprzejmości plebejusza. Czasami wyrzucałem sobie, że patrzę na swego przyjaciela jak na dzieło sztuki, to znaczy, że przyglądam się grze wszystkich części jego istoty, jak gdyby harmonijnie stonowanej przez ogólną ideę, od której były zawisłe, ale której on nie znał: tym samym nie przydawała ona nic własnym jego przymiotom, owej osobistej wartości intelektualnej i moralnej, do której przykładał taką wagę.

A jednak ona była w pewnej mierze ich warunkiem. Dlatego że był paniczem, ta ciekawość umysłowa, te socjalistyczne aspiracje, które mu kazały szukać towarzystwa pretensjonalnych i źle ubranych młodych studentów, miały u Roberta coś naprawdę czystego i bezinteresownego — czego nie miały u nich. Uważając się za dziedzica ciemnej i samolubnej kasty, starał się szczerze, aby mu przebaczyli jego arystokratyczne pochodzenie, które, przeciwnie, wywierało na nich urok i dla którego szukali jego towarzystwa, udając równocześnie w stosunku do niego chłód, a nawet niegrzeczność. Tak doszedł do nadskakiwania ludziom, do których, w myśl socjologii mojej rodziny w Combray, powinien by się odwracać tyłem.

Pewnego dnia, kiedyśmy siedzieli z Robertem na piasku, usłyszeliśmy z płóciennego namiotu wymyślenia na nadmiar Izraelitów zatruwających Balbec:

— Nie można zrobić dwóch kroków, żeby ich nie spotkać — mówił głos. — Nie jestem absolutnie wrogo usposobiony do Żydów, ale tutaj mamy hipersaturację. Słyszysz się jedynie: „Słuchaj, Abraham, wydziałem Jakuba”. Można by myśleć, że się jest na ulicy Aboukir.

Człowiek, który tak grzmiał przeciw Izraelowi, wyszedł wreszcie z namiotu; podnieśliśmy oczy na tego antysemitę. Był to mój kolega Bloch. Saint-Loup poprosił mnie zaraz, abym przypomniał Blochowi, że się spotkali na jakimś egzaminie, gdzie Bloch wziął pierwszą nagrodę, a potem w uniwersytecie ludowym.

Co najwyżej uśmiechałem się czasem, odnajdując u Roberta jezuickie lekcje w żenowaniu, jakie w nim rodziła obawa urażenia kogoś, za każdym razem, kiedy któryś

z jego przyjaciół-intelektualistów popełnił światowy błąd, zrobił rzecz śmieszną; sam Saint-Loup nie przykładał do tego błędu żadnej wagi, ale czuł, że tamten by się zarumienił, gdyby to spostrzeżono. I sam Robert rumienił się, jakby to on był winny, na przykład raz gdy Bloch, przyrzekając go odwiedzić w hotelu, dodał:

— Ponieważ nie znoszę wyczekiwania w pretensjonalnym szyku tych luksusowych bud, a muzyka cygańska przyprawiałaby mnie o mdłości, niech pan powie „lajftowi”, żeby uciszył grajków i żeby pana zaraz uprzedził.

Osobiście nie bardzo miałem ochotę, aby Bloch nas odwiedził. Był na nieszczęście w Balbec nie sam, ale z siostrami, które miały znowuż wielu krewnych i przyjaciół. Otóż ta kolonia żydowska była bardziej malownicza niż przyjemna. Z Balbec było tak jak z niektórymi krajami, Rosją lub Rumunią, gdzie wedle podręczników geografii ludność izraelska nie cieszy się takimi względami i nie doszła do tego stopnia asymilacji co na przykład w Paryżu. Kiedy kuzynki i wujowie Blocha lub ich żony i mężczy współwyznawcy, wciąż razem, bez domieszki innego elementu, udawali się do kasyna, jedne na „bal”, drudzy sterując w stronę bakarata, tworzyli orszak jednolity, zgoła niepodobny do ludzi, którzy patrzyli na nich i widywali ich tutaj co rok, nie zamieniając nigdy z nimi ukłonu; czy to było towarzystwo państwa de Cambremer, czy grupka prezydenta, czy wielcy i mali mieszczanie lub nawet zwykli paryscy handlarze zbożem, których córki, piękne, dumne, drwiące i francuskie jak posągi z Reims, nie chciały się mieszać z tą hordą dziewczysk źle wychowanych, posuwających dbałość o modę „kąpielową” tak daleko, że robiły stale wrażenie, iż wracają z połowu krewetek lub że tańczą tango.

Co do mężczyzn, mimo blasku smokingów i lakierków, przesada ich typu kazała myśleć o tych rzekomo „inteligentnych” tendencjach malarzy, którzy, ilustrując *Nowy Testament* lub *Tysiąc i jedną noc*, myślą o kraju, gdzie się scena rozgrywa, dając świętemu Piotrowi lub Ali Babie właśnie fizjognomię najgrubszego „ponitera” w Balbec.

Bloch przedstawił mi swoje siostry, którym „stulał pysk” z krańcową brutalnością, a które śmiały się do rozpuku za najmniejszym conceptem brata, ich uwielbianego bżyszczka. Bardzo prawdopodobne jest, że to środowisko musiało, jak każde inne, bardziej może niż inne, zawierać wiele uroków, przymiotów i cnót. Ale aby się o tym przekonać, trzeba by w nie wejść. Otóż ono nie budziło sympatii, czuło to, widziało w tym dowód antysemityzmu, przeciwstawiając mu zwartą i zamkniętą falangę, w którą nikt zresztą nie miał ochoty się wdzierać.

Co się tyczy owego „laifta”, nie miałem przyczyny zbytnio się temu dziwić. Na kilka dni przedtem Bloch zapytał mnie, po com przyjechał do Balbec (wydawało mu się natomiast całkiem naturalne, że on tam jest) i czym to uczynił „w nadziei zrobienia świetnych znajomości”; kiedy mu rzekł, że ta podróż odpowiada moim najdawniejszym pragnieniom (mimo iż mniej głębokim niż chęć ujrzenia Wenecji), odparł: „Tak, oczywiście, po to, aby pić sorbety z pięknymi damulkami, udając przy tym, że się czyta *Stones of Venaiice* lorda Johna Ruskina, ponurego nudziarza, jednego z najpiłowszych facetów, jacy istnieją”. Bloch uważał najwidoczniej, że w Anglii nie tylko wszystkie osobniki płci męskiej są lordami, ale również że głoska „i” wymawia się zawsze jak „ai”. Co się tyczy Roberta, ten błąd wymowy wydawał mu się nader błahy; widział w nim zwłaszcza brak owych wiadomości niemalże światowych, którymi mój nowy przyjaciel w tym samym stopniu gardził, w jakim je sam posiadał. Ale obawa, iż Bloch, dowiedziawszy się kiedyś, że mówi się „Venice” i że Ruskin nie jest lordem, pomyśli retrospektywnie, iż musiał się wydać śmieszny w jego oczach, sprawiła, że Saint-Loup uczuł się winny, tak jakby zgrzeszył brakiem pobłażania, którego był pelen: i ten rumieniec, jaki zabarwi z pewnością kiedyś twarz Blocha świadomego swego błędu, pokrył antycypowanym odbłaskiem policzki Roberta. Bo myślał, że Bloch przywiązuje więcej od niego wagi do tego błędu. Czego Bloch dowiedział w jakiś czas później, gdy, usłyszawszy że wymawiam „lift”, przerwał:

— A, mówi się *lift*. — I suchym i wyniosłym tonem dodał. — To nie ma zresztą żadnego znaczenia.

Powiedzenie niemal odruchowe, jednakie u wszystkich ludzi obdarzonych miłością własną, zarówno w najważniejszych jak i najbłahszych okolicznościach. Słowa te zdradzają, tak samo jak w danym wypadku, jak ważna wydaje się jakaś rzecz temu, co jej odmawia najmniejszego znaczenia; słowa tragiczne czasem, tak boleśnie wydzierające się z ust wszelkiego człowieka mającego nieco dumy, kiedy odmawiając mu usługi, odebrano

mu ostatnią nadzieję: „Och, mniejsza, to nie ma żadnego znaczenia, urządzę się inaczej”. Tym innym urządzeniem się, będącym bez znaczenia, bywa czasami — samobójstwo.

Potem Bloch mówił mi rzeczy bardzo przyjemne. Z pewnością chciał być dla mnie bardzo miły. Jednakże spytał:

— Czy to przez chęć wzniesienia się do arystokracji (arystokracji bardzo pokątnej zresztą, ale ty zachowałeś uroczą naiwność) przestajesz z panem de Saint-Loup-en-Bray? Musisz przechodzić ładny atak snobizmu. Powiedz mi, czy ty jesteś snob? Tak, nieprawdaż?

Nie znaczy to, aby jego chęć uprzejmości zmieniła się nagle. Ale to, co się nazywa, dość niepoprawnie zresztą, „złym wychowaniem”, było jego wadą, której nie spostrzegaliśmy, nie czułem zwłaszcza, iż może razić innych. W społeczeństwie częstość zalet wspólnych wszystkim nie bardziej jest zadziwiająca niż różnorodność wad właściwych każdemu. Bez wątpienia, nie zdrowy rozum jest — jak mówi Descartes — rzeczą najbardziej rozpowszechnioną, ale dobroć. W najodleglejszych, najbardziej zapadłych kątach dziwimy się, widząc, jak ona kwitnie sama z siebie, niby w ustronnej dolinie mak podobny do wszystkich innych maków w świecie, on, który ich nigdy nie widział i znał jedynie wiatr, potrząsający czasem jego samotną czerwoną czapeczką. Nawet jeżeli ta dobroć, sparaliżowana interesem, nie ujawnia się, istnieje ona mimo to i za każdym razem, kiedy jej nie przeszkodzi samolubna pobudka — na przykład przy lekturze powieści lub dziennika — rozkwita ona, zwraca się (nawet w sercu tego, który, będąc w życiu mordercą, pozostaje tkliwym czytelnikiem) ku słabemu, ku sprawiedliwemu a prześladowanemu. Ale różnorodność wad jest niemniej cudowna niż podobieństwo cnót. Każdy ma tak dalece swoje, że aby go móc nadal kochać, musimy przejść nad nimi do porządku i pomijać je przez wzgląd na resztę. Najdoskonalsza osoba ma jakąś wadę, która nas razi lub doprowadza do wściekłości. Jeden ma wspaniałą inteligencję, widzi wszystko z wysoka, nie mówi źle o nikim, ale zapomina w kieszeni najważniejszych listów, które sam się ofiarował wrzucić, i przyprowadza was o spóźnienie na ważną schadzki, nie tłumacząc się, z uśmiechem, bo pokłada ambicję w tym, aby nigdy nie wiedzieć godziny. Inny ma tyle subtelności, słodczy, delikatności, że mówi ci o tobie jedynie rzeczy zdolne ci sprawić przyjemność; ale czujesz, że przemilcza, że chowa w sercu, gdzie kwaśniej, rzeczy całkiem inne; a przyjemność widzenia cię jest mu tak droga, że raczej pozwoliłby ci paść ze zmęczenia, niżby cię miał opuścić. Trzeci jest szczerzy, ale posuwa szczerść tak daleko, że, kiedy się wymówił zdrowiem od wizyty u niego, daje do zrozumienia, że cię widziano idącego do teatru i żeś wyglądał wcale dobrze; albo że nie mógł skorzystać z zabiegów, któreś dlań podjął i które zresztą proponowały mu trzy inne osoby, tak iż jest ci obowiązany w bardzo skromnej mierze. W obu tych okolicznościach, ów poprzedni przyjaciel udalby, że nie wie o twojej bytności w teatrze i o tym, że inne osoby mogły mu być oddać tę samą przysługę. Ten ostatni, o którym mówiłem, czuje potrzebę powtórzenia lub zdradzenia innym tego, co może ci być najprzykrzejsze, zachwycony jest swoją szczerścią i powiada ci z energią: „Taki już jestem”. Inni drażnią cię nadmierną ciekawością lub brakiem ciekawości tak absolutnym, że możesz im mówić o najbardziej sensacyjnych wydarzeniach bez ściągnięcia ich uwagi; inni wreszcie miesiące całe nie odpowiadają ci na list, o ile twój list zawierał coś, co dotyczy ciebie, a nie ich; lub uprzedziwszy, że mają cię o coś prosić, gdy ty nie śmiesz wyjść z domu z obawy, aby nie zrobić im zawodu, oni nie przychodzą i dają ci czekać całe miesiące, ponieważ nie otrzymawszy od ciebie odpowiedzi, o którą w liście bynajmniej nie prosili, myślą, żeś się obraził. A niektórzy, licząc się tylko ze swoją, nie z twoją ochotą, o ile są weseli i mają ochotę cię widzieć, paplą, nie pozwalając ci wtrącić ani słówka, bez względu na to jaką mógłbyś mieć pilną robotę; jeśli się natomiast czują nieszczególnie lub są w złym humorze, nie możesz z nich wydobyć ani słowa, przeciwstawiają twoim wysiłkom tępy opór i nie zadają sobie trudu odpowiadania ci nawet monosylabami, tak jakby w ogóle nie słyszeli.

Każdy z naszych przyjaciół ma tyle wad, że aby go nadal kochać, musimy mu zapomnieć te wady, myśląc o jego talencie, dobroci, serdeczności, lub raczej — z całym nakładem dobrej woli — nie brać tych wad w rachubę. Nieszczęściem, nasz życzliwy upór w tym, aby nie widzieć jakiejś wady przyjaciela, nie dorównywa uporowi, jaki rozwija on sam, aby pielęgnować tę wadę wskutek swojej ślepoty lub ślepoty, jaką przypisuje innym. Bo on nie widzi tej wady lub myśli, że inni jej nie widzą. Ponieważ ryzyko zrażenia ko-

goś zależy zwłaszcza od trudności w ocenie stopnia, w jakim coś uchodzi niepostrzeżenie, powinno by się, badaj przez ostrożność, nie mówić nigdy o sobie, bo to jest przedmiot, co do którego możemy być pewni, iż perspektywa innych osób nigdy nie pokrywa się z naszą. Jeżeli odkrywając prawdziwe życie drugich, rzeczywisty świat pod światem pozornym, doznajemy tyluż niespodzianek, co przy zwiedzaniu domu o banalnym wyglądzie, ale wewnątrz pełnego skarbów, narzędzi złodziejskich i trupów, nie mniejszego doznajemy wstrząsu, kiedy w miejsce obrazu, jakiśmy sobie stworzyli o sobie samych z tego, co każdy nam mówił, dowiadujemy się jak o nas mówią w naszej nieobecności, jaki zupełnie odmienny obraz nas i naszego życia ci ludzie w sobie nosili. Tak iż za każdym razem, kiedyśmy mówili o sobie, możemy być pewni, że nasze niewinne i ostrożne słowa, słuchane z pozorną grzecznością i obłudnym uznaniem, dały powód do komentarzy najbardziej skandalicznych lub uciesznych, w każdym razie najmniej przychylnych. W najlepszym razie ryzykujemy to, że drażnimy innych przez niestosunek między naszym pojęciem o sobie a naszymi słowami; niestosunek ten czyni zazwyczaj odezwania się ludzi o sobie czymś równie śmiesznym jak podśpiewywanie niewydarzonych amatorów muzyki, którzy upierają się nucić ulubioną melodię, zastępując braki swoich nieartykułowanych dźwięków energiczną mimiką i wyrazem nieusprawiedliwionego zachwytu. A do złego nawyku mówienia o sobie i o swoich wadach, trzeba dodać, jako ściśle z nim zespolony, nawyk wykazywania u innych tych właśnie wad, jakie się ma samemu. I właśnie zawsze o tych wadach mówimy, jakby to był pośredni sposób mówienia o sobie, łączący przyjemność zwierzeń z przyjemnością rozgrzeszenia. Zresztą zdaje się, iż nasza baczność, wciąż zwrócona na to, co nas charakteryzuje, spostrzega to u drugich bardziej niż wszystko inne. Krótkowidz mówi o drugim: „Ależ on ledwo widzi”; suchotnik powątpiewa o stanie płuc najtęższego człowieka; brudas mówi o niedostatku kąpieli u innych; niepachnący twierdzi, że kogoś czuć; zdradzany mąż wszędzie widzi zdradzanych mężów; kobieta lekka kobiety lekkie; snob snobów. A przy tym każda przywara, jak każdy zawód, wymaga specjalnej wiedzy — i rozwija tę wiedzę — którą człowiek chętnie roztacza. Zboczeniec tropi zboczeńców, krawiec spotkany w towarzystwie jeszcze nie mówił z tobą, a już oszacował materiał twego ubrania i aż go palce świerzbią, aby je pomacać; a jeżeli po chwili rozmowy spytasz odontologa o jego szczerą opinię o tobie, wymieni ci liczbę twoich wątpliwych zębów. Nic nie wydaje mu się ważniejsze, a tobie, któryś zauważył jego zęby, bardziej śmieszne. I nie tylko kiedy mówimy o sobie, sądzimy, że inni są ślepi; działamy tak, jakby w istocie byli ślepi. Istnieje dla każdego z nas jakby specjalny bożek, który nam kryje nasze braki lub przyręka ich niewidoczność, tak samo jak ludziom niedomytym zamyka oczy i nozdrza na smugę brudu za ich uszami i na zapach potu pod pachami i wmawia w nich, że mogą jedno i drugie obnosić bezkarnie między ludźmi, którzy nic nie zauważą. A ci, co noszą lub dają w prezencie fałszywe perły, wyobrażają sobie, że ujdą za prawdziwe.

Bloch był źle wychowany, neuropata, snob; należąc przy tym do rodziny mało szanowanej, znosił, niby w głębinie morskiej, nieobliczalne ciśnienie, jakim ciążyły na nim nie tylko chrześcijanie z samej powierzchni, ale kolejne warstwy kast żydowskich, wyższych od jego kasty, z których każda gniotła swoją wzdargą tę, co była tuż pod nią. Przebić się aż na powietrze, wznosząc się od jednej rodziny żydowskiej do drugiej, wymagałoby dla Blocha kilku tysięcy lat, lepiej mu było tedy utorować sobie drogę inaczej.

Kiedy Bloch mówił mi o ataku snobizmu, jaki muszę przechodzić i prosił mnie, abym się przyznał, że jestem snob, mógłbym mu odpowiedzieć: „Gdybym był snob, nie zadawałbym się z tobą”. Powiedziałem mu tylko, że nie jest zbyt uprzejmy. Próbował się usprawiedliwić, ale właśnie na sposób źle wychowanego człowieka, aż nazbyt szczęśliwego, kiedy, wracając do swoich słów, znajdzie sposobność pogłębienia grubiaństwa. „Daruj mi — powiadał za każdym razem, kiedy mnie spotkał — zrobiłem ci przykrość, dręczyłem cię, byłem rozmyślnie zły. Człowiek w ogólności, a twój przyjaciel w szczególności jest tak osobliwym bydlęciem! Bo ty nie możesz sobie wyobrazić, ile czułości ja mam dla ciebie, mimo że ci tak dokuczam. Często, myśląc o tobie, lzy mam w oczach”. I żałkał lekko.

Co mnie dziwiło u Blocha bardziej niż złe maniery, to nierówność jego konwersacji. Ten człowiek tak wybredny, który o najgłośniejszych pisarzach mówił: „To ponury idiota, to stuprocentowy głupiec”, chwilami opowiadał z wielką uciechą anegdoty niemające ani

szczypty soli i cytował jako „naprawdę interesującego” człowieka najzupełniej miernego. Ta podwójna miara w osądzie czyjejś inteligencji, wartości, uroku, dziwiła mnie aż do dnia, gdy poznałem starszego pana Blocha.

Nie przypuszczałem, że będzie nam kiedyś dane poznać go, gdyż młody Bloch mówił źle o mnie przed Robertem, a o Robercie przede mną. Powiedział mianowicie Robertowi, że ja byłem (zawsze) okropny snob. „Ależ tak, tak, on jest upojony tym, że zna pana LLLegrandin” — rzekł. Ten sposób odcinania słów był u Blocha zarazem oznaką ironii i kultury literackiej. Saint-Loup, który nigdy nie słyszał nazwiska pana Legrandin, zdziwił się: „Ale kto to taki?”. „Och, to ktoś *bardzo dobrze*” — odparł Bloch śmiejąc się i kładąc zziębnięte ręce do kieszeni, przekonany, że w tej chwili ogląda wyobraźnią malowniczego i zdumiewającego szlachcica z prowincji, przy którym figury Barbeya d’Aureville są niczym. Bolejąc, że nie umie odmalować pana Legrandin, uzupełniał ten obraz kilkomaloma L, smakując to nazwisko niby szlachetne wino. Ale ta jego osobista przyjemność nie udzielała się innym.

O ile Bloch mówił przed Robertem źle o mnie, z drugiej strony nie mniej złego mówił przede mną o Robercie. Poznaliśmy obaj szczegóły tej obmowy zaraz nazajutrz; nie iżbyśmy je sobie powtórzyli nawzajem, co by się nam wydało bardzo niegodne, ale co się Blochowi zdawało tak naturalne i prawie nieuniknione, że w swoim niepokoju, uważając za pewnik, iż powie każdemu z nas jedynie to, czego i tak musimy się dowiedzieć, wołał nas uprzedzić. Odciągając Roberta na bok, wyznał mu, że mówił źle o nim umyślnie, abym mu to powtórzył; zaklął się „na Kroniona Zeusa, strażnika przysięg”, że go kocha, że dałby życie za niego, i otarł łzę. Tegoż dnia postarał się widzieć mnie samego, wypowiadał się przede mną, oświadczył, że działał w moim interesie, uważając, iż pewien typ stosunków światowych jest dla mnie zgubny i że „wart jestem czegoś lepszego”. Po czym biorąc mnie za rękę z pijackim rozczuleniem, mimo że jego pijaństwo było czysto nerwowe: „Wierzaj mi — rzekł — i niechaj czarna Ker pochłonie mnie w tej chwili i wepchnie mnie w bramy Hadesu obmierzonego ludziom, jeżeli wczoraj, myśląc o tobie, o Combray, o mojej nieskończonej czułości dla ciebie, o chwilach spędzonych na ławce szkolnej, których ty nawet nie pamiętasz, nie szlochałem całą noc. Tak, całą noc, przysięgam ci, i niestety wiem o tym, bo znam dusze ludzi, nie uwierzysz mi”.

Nie uwierzyłem mu w istocie, a słowem tym, które — czułem to — Bloch wymyślał na poczekaniu — w miarę jak mówił, przysięga jego „na czarną Ker” nie przydawała wiele wagi, ile że kult hellenizmu był u Blocha czystą literaturą. Zresztą, ilekroć się zaczynał rozczulać i chciał kogoś rozczulić jakimś fałszem, powiadał: „Przysięgam ci”, bardziej jeszcze dla historycznej rozkoszy kłamania niż z chęci przekonania o prawdzie swoich słów. Nie wierzyłem w to, co mówił, ale nie żywiłem doń pretensji, bo miałem to po matce i babce, że byłem niezdolny do urazy, nawet wobec bardziej winnych, i nigdy nie potępiałem nikogo.

Bloch nie był zresztą absolutnie złym chłopcem, mógł się zdobyć na wielką delikatność. I od czasu jak rasa Combray, z której wiodły się istoty absolutnie czyste jak moja babka i matka, zdaje się niemal wygasła, kiedy mam do wyboru jedynie między zacnymi bydlakami, nieczułymi i prawymi, u których sam dźwięk głosu zdradza rychło, że się nie troszczą w niczym o nasze życie — a innym gatunkiem ludzi, którzy, dopóki są z nami, rozumieją nas, kochają, rozczulają się do łez, a biorą sobie odwet w kilka godzin potem, robiąc na nas jakiś okrutny żarcik, ale wracają do nas, wciąż równie rozumiejący, równie mili, równie wnikający w nas na chwilę, sądzę, że wolę ten drugi rodzaj ludzi, jeżeli nie jako wartość moralną, to bodaj jako towarzystwo.

— Nie możesz sobie wyobrazić mego cierpienia, kiedy myślę o tobie — ciągnął Bloch. — W gruncie to jest rys dosyć żydowski we mnie — dodał ironicznie, mrużąc oczy, tak jakby chodziło o dawkovanie pod mikroskopem nieskończenie drobnej cząstki „krwi żydowskiej” i tak jakby mógł powiedzieć (ale by nie powiedział) wielki pan francuski, gdyby między swymi wyłącznie chrześcijańskimi przodkami liczył Samuela Bernarda lub jeszcze starożytniej Matkę Boską, od której ponoć wywodzi się rodzina Lévy.

— Dość chętnie — dodał — biorę w swoich uczuciach w rachubę wcale szczupłą zresztą cząstkę, która może się wiązać z moim żydowskim pochodzeniem.

Wygłosił to zdanie, bo mu się zdawało równocześnie i inteligentne, i odważne powiedzieć prawdę o swojej rasie, prawdę, którą równocześnie starał się osobliwie złagodzić, jak

skąpcy, gdy się decydują spłacić długi, ale umieją się zdobyć tylko na zapłacenie połowy. Ten rodzaj oszukaństwa, polegający na odwadze powiedzenia prawdy, ale z domieszką sporej porcji kłamstw, które ją fałszują, jest bardziej rozpowszechniony, niż się przypuszcza; i nawet ci, co nie uprawiają go stale, uciekają się do niego w pewnych momentach, zwłaszcza gdy wchodzi w grę stosunek miłosny.

Wszystkie te kryjome wycieczki Blocha wobec Roberta przeciw mnie i wobec mnie przeciw Robertowi skończyły się zaproszeniem na obiad. Nie jestem bardzo pewny, czy najpierw nie próbował zdobyć Roberta samego. Taka próba byłaby dość prawdopodobna, ale widać nie uwieńczyła jej powodzenie, gdyż pewnego dnia Bloch zwrócił się do nas obu.

— Drogi mistrzu i ty, jeźdźcze ulubiony Aresowi, margrafie de Saint-Loup-en-Bray, poskromicielu rumaków, skorom cię spotkał na ociekającym pianą wybrzeżu Amfitryty, w pobliżu namiotów Menierów o chybkich okrętach, czy zechcecie obaj przyjść któregoś dnia spożyć obiad u mego znamienitego ojca o sercu bez zmyzy?

Skierował do nas to zaproszenie, bo miał ochotę zbliżyć się z Robertem, który mógłby — Bloch miał tę nadzieję — wprowadzić go w sfery arystokratyczne. U mnie pragnienie takie wydałoby się Blochowi oznaką najwstrętniejszego snobizmu, zgodnego z opinią, jaką miał o całej stronie mego usposobienia, nie uważając jej, dotąd przynajmniej, za główną; ale to samo pragnienie u niego zdawało mu się dowodem chwalebnej żywotności jego inteligencji, żadnej pewnych odkryć socjalnych, mogących przynieść mu jakiś literacki pożytek.

Kiedy Bloch oznajmił ojcu, że przyprowadzi na obiad jednego ze swoich przyjaciół, którego tytuł i nazwisko wygłosił tonem sarkastycznego zadowolenia: „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray”, ojciec doznał gwałtownego wstrząsu. „Margrabia de Saint-Loup-en-Bray! A, psiakość!” — wykrzyknął, posługując się przekleństwem, będącym u niego oznaką najwyższego socjalnego szacunku.

I rzucił na syna, zdolnego do zawiązania takich stosunków, pełne podziwu spojrzenie, które mówiło: „On jest naprawdę zdumiewający! Czy ten młody fenomen, to jest moje dziecko?”. Spojrzenie to sprawiło memu koledze więcej przyjemności, niż gdyby mu pomnożono miesięczną pensję o pięćdziesiąt franków. Bo Bloch czuł się źle w domu; czuł, że go ojciec uważa za pomyłonego, dlatego że żywi podziw dla Leconte de Lisle’a, dla Heredii i innej „bohemy”. Ale stosunki z margrabią Saint-Loup-en-Bray, którego ojciec był swego czasu prezesem Kanału Sueskiego (a, psiakość!), to był rezultat „bezsportny”. Tym więcej ojciec Blocha ubolewał, że zostawił w Paryżu stereoskop z obawy uszkodzenia tegoż. Jedynie starszy pan Bloch miał prawo się nim posługiwać. Czynił to zresztą rzadko, z rozwagą, w dniu przyjęć galowych z donajętymi lokajami. Tak że te stereoskopowe seanse stawały się dla uczestników jak gdyby wyróżnieniem, przywilejem, a panu domu, który je urządzał, dawały *prestige* podobny temu, jaki daje talent; *prestige* ten nie mógłby być większy, gdyby pan Bloch osobiście dokonał zdjęć i sam wymyślił aparat. „Nie byłeś wczoraj zaproszony do Salomona?” — pytano w rodzinie. „Nie, nie należałem do wybranych! Co tam było?”. „Wielka heca, stereoskop, cała parada”. „A, skoro był stereoskop, to żałuję, bo zdaje się, że Salomon jest bajeczny, kiedy go pokazuje”.

— Trudno — powiedział pan Bloch do syna — nie trzeba mu dawać wszystkiego naraz, w ten sposób zostanie mu coś na przyszłość.

W swojej czułości ojcowskiej, chcąc ucieszyć syna, pomyślał o tym, aby sprowadzić aparat. Ale brakło „fizycznego czasu” lub przynajmniej sądzono, że go braknie; musieliśmy wszelako odbyć ten obiad, bo Saint-Loup nie mógł się ruszyć, w oczekiwaniu wuja, który miał przyjechać na dwa dni do pani de Villaparis. Ponieważ ów wuj, rozmiłowany w ćwiczeniach fizycznych, zwłaszcza w długich marszach, odbywał drogę z zamku, gdzie bawił na wilegiaturze, po większej części pieszo, nocując u wieśniaków, chwila jego zjawienia się w Balbec była dość niepewna. Bojąc się ruszyć, Saint-Loup polecił mi nawet zanieść do Incauville, gdzie był urząd telegraficzny, depeszę, którą wysyłał co dzień do swojej kochanki. Oczekiwany wuj nazywał się Palamed — to imię odziedziczył po swoich przodkach, książętach Sycylii. I później, kiedy w ciągu swoich lektur historycznych odnajdywałem to imię, należące do jakiegoś podesty lub księcia Kościoła, niby piękny renesansowy medalion — inni mówili: prawdziwy antyk — przechowywany w rodzinie, przechodzący z biegiem pokoleń z gabinetu watykańskiego na wuja mego przyjaciela,

odczuwałem przyjemność właściwą tym, co nie mogąc z braku pieniędzy stworzyć sobie zbioru medali, pinakoteki, poszukują starych nazw (nazw miejscowości, dokumentarnych i malowniczych na kształt starej mapy, godła, szyldu lub kalendarza, imion chrześcijańskich, w których dźwięczy i wyraża się, w pięknych francuskich końcówkach, skaza języka, akcent etnicznego zniekształcenia, błędna wymowa, którą przodkowie nasi narzucali łacińskim lub saksońskim wyrazom, trwale skażenia, zmienione później w dostojne prawodawstwo gramatyki) i dzięki tej kolekcji zamierzonych dźwięków dają sami sobie koncerty, na sposób tych, co nabywają *viola di gamba* i *viola d'amore*, by uprawiać starą muzykę na dawnych instrumentach.

Saint-Loup powiedział mi, że nawet w najbardziej zamkniętym świecie arystokratycznym, wuj jego Palamed wyróżniał się jako szczególnie nieprzystępny, wgardliwy, zakochany w dostojności rodu, tworzący wraz z żoną swego brata i kilkoma innymi wybranymi tak zwane „kółko Feniksów”. I tam nawet budził taki lęk swymi fumami, że zdarzało się, iż ludzie z towarzystwa pragnący go poznać i zwracający się z tym do jego brata, spotykali się z odmową. „Nie, nie, niech mnie pan nie prosi o przedstawienie bratu. Choćbyśmy się do tego zaprzęgli wszyscy razem z moją żoną, nic byśmy nie wskórali. Lub naraziłby się pan na to, że Palamed zrobiłby panu jaką impertynencję, a tego bym nie chciał”. W Jockey Clubie sporządził wraz z kilkoma przyjaciółmi listę dwustu członków, których nigdy sobie nie pozwolą przedstawić. A u hrabiego Paryża znany był pod przydomkiem „królewiatko” dla swojej elegancji i dumy.

Saint-Loup opowiadał mi o dawno już minionej młodości swego wuja. Sprowadzał wówczas co dzień kobiety do garsoniery, którą miał wspólnie z dwoma przyjaciółmi, pięknymi jak on, co sprawiało, że ich nazywano „trzy Gracje”.

— Jeden z ludzi najbardziej dziś na widoku w Faubourg Saint-Germain, jakby powiedział Balzac, ale który w pierwszym, dość wątpliwym okresie życia zdradzał osobliwe gusty, poprosił wujka, aby mu pozwolił odwiedzić tę garsonierę. Ale ledwie przybył, zaczął się oświadczać nie kobietom, lecz wujowi Palamedowi. Wuj udał, że nie rozumie, odciągnął pod jakimś pretekstem na stronę swoich dwóch przyjaciół, po czym wrócili, wzięli delikwenta, rozebrali go, zbili do krwi i skopawszy, wyrzucili go na dziesięciostopniowy mróz na ulicę, gdzie go znaleziono w pół żywego. Policja wszczęła dochodzenie, któremu ten nieszczęsny ledwo zdołał z największym trudem zapobiec. Dziś wuj Palamed nie dopuściłby się tak okrutnej egzekucji; nie wyobrażasz sobie, ile osób z ludu — on, tak wyniosły z ludźmi swojej sfery — darzy sympatią, proteguje, często narażając się na niewdzięczność. To jakimś służącemu, który go obsługiwał w hotelu, wyrobi miejsce w Paryżu, to jakiegoś kmiotka da uczyć rzemiosła. To nawet jest u niego raczej sympatyczna strona, przez kontrast do jego światowości.

Saint-Loup należał w istocie do tego rodzaju młodych światowców, rosnących na wyżynie, gdzie zdołano wyhodować te zwroty: „To jest u niego raczej sympatyczne, to jego wcale sympatyczna strona”, nasiona dosyć cenne, wydające bardzo szybko sposób pojmowania rzeczy, bez którego siebie liczy się za nic, a „lud” za wszystko; w sumie — zupełne przeciwieństwo dumy plebejusza.

— Zdaje się, że niepodobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia on nadawał ton, jak on za młodu dyktował prawa całemu towarzystwu. Sam w każdej okoliczności robił to, co mu się zdawało najprzyjemniejsze, najwygodniejsze, ale natychmiast stawało się to wzorem dla snobów. Kiedy mu się w teatrze zachciało pić i kazał sobie przynieść coś do picia do łoża, w następnym tygodniu saloniki przy łóżach napełniły się chłodnikami. Pewnego dżdżystego lata, kiedy miał trochę reumatyzmu, zamówił sobie paltot z wielbłądziej sierści, miękkiej ale cieplej, używanej tylko na pledy; kazał nawet zachować niebieskie i żółte prążki. Natychmiast klienci modnych krawców zaczęli zamawiać niebieskie kosmate paltta z frędzlami. Jeśli dla jakiejś przyczyny chciał odjąć ceremonialny charakter obiadu na wsi, gdzie bawił przelotnie, i aby zaznaczyć ten odcień, nie wzięwszy ze sobą fraka, siadł do stołu w zwykłej marynarce, stawało się modą jeść na wsi obiad w marynarce. Kiedy, jedząc ciasto, zamiast łyżeczki posłużył się widelcem lub przyrządem własnego pomysłu, zamówionym specjalnie u jubilera, lub wreszcie palcami, nie wolno już było robić inaczej. Miał na przykład ochotę posłyszeć niektóre kwartety Beethovena (bo przy wszystkich swoich dzikich pomysłach, on wcale nie jest głupi, jest bardzo utalentowany) i sprowadzał sobie artystów, aby je przegrywali co tydzień dla niego i dla paru przyja-



ciół: szczytem elegancji stało się owego roku dawać bardzo nieliczne zebrania z muzyką kameralną. Myślę zresztą, że on się nie nudził w życiu. Przy swojej urodzie, ten musiał mieć kobiety! Nie umiałbym ci zresztą powiedzieć które, bo on jest bardzo dyskretny. Ale wiem, że bardzo zdradzał moją biedną ciotkę. Co nie przeszkadza, że był przemily dla niej, że ona go ubóstwiała, a on oplakiwał ją całe lata. Kiedy jest w Paryżu, chodzi jeszcze prawie co dzień na cmentarz.

Nazajutrz po dniu, gdy Robert opowiadał mi o swoim wuju, wciąż oczekując go, zresztą na próżno, wracałem sam koło kasyna do hotelu. Naraz doznałem wrażenia, że ktoś w pobliżu przygląda mi się. Obróciłem głowę i spostrzegłem mężczyznę może czterdziestoletniego, wysokiego i dość tęgiego, z bardzo czarnymi wąsami, który, uderzając się nerwowo po spodniach laseczką, wpijał we mnie oczy rozszerzone uwagą. Chwilami oczy te przeszywało we wszystkich kierunkach spojrzenie nadzwyczaj żywe, jakie mają wobec nieznaney im osoby ludzie, w których z jakiego bądź powodu osoba ta budzi myśli obce każdemu innemu — na przykład wariaci lub szpiedzy. Skierował na mnie żarliwe spojrzenie, śmiałe, ostrożne, szybkie i głębokie zarazem, niby ostatni strzał, jaki ktoś oddaje tuż przed rzuceniem się do ucieczki; po czym, rozejrzawszy się dokoła, przybierając nagle roztargnioną i wyniosłą minę, opanowawszy się gwałtownie, pogrążył się w lekturze afisza, nucąc jakąś aryjkę i poprawiając różę zwisającą z butonierki. Wyjął z kieszeni notatnik, w który zdawał się wpisywać tytuł widowiska, dobył parę razy zegarka, nasunął na oczy czarny słomkowy kapelusz, przykładając do jego róna dłoń jakby dla sprawdzenia, czy ktoś nie nadchodzi; uczynił gest zniecierpliwienia, jakim człowiek niby to wyraża, że ma dość czekania, ale jakiego nie robi nigdy, gdy czeka naprawdę; po czym, odsuwając w tył kapelusz i ukazując krótko ostrzyżoną szczotkę włosów z dłuższymi puklami na skroniach, wydał głośne westchnienie nie człowieka, któremu jest za gorąco, ale człowieka, który chce okazać, że mu jest za gorąco.

Pomyślałem, czy to nie złodziej hotelowy, który, zauważywszy może w ciągu poprzednich dni babkę i mnie i gotując jakiś zamach, spostrzegł, że go przyłapał na tym, że mnie śledzi; aby zmylić trop, może starał się tylko zmianą swojej postawy wyrazić roztargnienie i obojętność, ale czynił to z tak natrętną przesadą, jak gdyby miał na celu co najmniej tyleż rozproszyć moje możliwe podejrzenia, co pomścić upokorzenie, o jakie go bezwiednie przyprawilem, obudzić we mnie przekonanie nie tyle, że mnie nie widział, co że jestem przedmiotem zbyt mało znaczącym, aby zasługiwać na jego uwagę. Wypinał się prowokująco, zaciskał wargi, podkreślał wąsy, dając swoim spojrzeniom coś obojętnego, twardego, niemal obelżywego; tak iż niezwykłość jego wzroku kazała mi go brać to za złodzieja, to za wariata. Jednakże strój jego, nadzwyczaj wyszukany, był o wiele poważniejszy i o wiele skromniejszy niż u wszystkich letników w Balbec, pokrzepiający dla mojej marynarki, tak często upokarzanej olśniewającą i banalną bielą ich plażowych kostiumów.

Tymczasem babka wyszła na moje spotkanie, spacerowaliśmy trochę; w godzinę później czekałem na nią przed hotelem, dokąd weszła na chwilę, kiedym ujrział panią de Villeparisis, wychodzącą z Robertem de Saint-Loup i z owym nieznajomym, który mi się tak bystro przyglądał przed kasynem. Wzrok jego przeszył mnie z szybkością błyskawicy, tak samo jak wówczas, gdy go spostrzegłem po raz pierwszy; po chwili wzrok ten — tak jakby mnie nie dojrzał stojącego nieco niżej, w polu jego widzenia — wrócił stępio-ny, obojętny: wzrok, który udaje, że nic nie widzi i niezdolny jest nic wyrazić; malujący jedynie satysfakcję czucia dokoła siebie rzesz rozchylonych jego błogą krągłością; nabożny i słodki wzrok, jaki mają niektórzy hipokryci, zadowolony z siebie wzrok, jaki mają niektórzy głupcy. Ujrzałem, że nieznajomy zmienił ubranie. Obecny jego strój był jeszcze ciemniejszy; niewątpliwie dlatego, iż prawdziwa elegancja mniej jest odległa od prostoty niż fałszywa; ale było jeszcze coś: widząc go z bliska, czuło się, że jeżeli kolor jest prawie zupełnie obcy jego ubraniu, to nie dlatego, aby ten, co nim wzgardził, był nań obojętny, ale raczej że go sobie zabronił dla jakiejś przyczyny. Surowość jego stroju bardziej zdawała się wynikać z jakiejś narzuconej diety niż z braku łakomstwa. Ciemnozielona nitka w materii spodni harmonizowała ze strzałką u skarpetek, z wyrafinowaniem zdradzającym żywość poskromionego wszędzie indziej smaku, jakiemu zrobiono przez tolerancję to jedno ustępstwo, podczas gdy czerwona plamka na krawacie była niedostrzegalna niby zuchwałstwo, na które ktoś nie śmie sobie pozwolić.

— Dobry wieczór, przedstawiam panu mego bratanka, barona de Guermantes — rzekła do mnie pani de Villeparisis, podczas gdy nieznamy, nie patrząc na mnie, wybąkał niewyraźnie: „Bardzo mi miło”, co uzupełnił dźwiękami: „hum, hum, hum”, aby dać swojej uprzejmości coś wymuszonego; równocześnie, zginając mały, wielki i wskazujący palec, podał mi środkowy i serdeczny, bez żadnego pierścionka. Ucisnąłem je przez szwedzką rękawiczkę; po czym baron, nie podnosząc na mnie oczu, obrócił się ku pani de Villeparisis.

— Mój Boże, czy ja głowę tracę — rzekła margrabina — przecież ja cię nazwałam baronem de Guermantes. Przedstawiam panu barona de Charlus. Ostatecznie, pomyłka nie jest tak wielka — dodała — i tak przecie jesteś Guermantes.

Tymczasem zjawiła się babka, szliśmy kawałek razem. Wuj Roberta nie zaszczycił mnie nie tylko słowem, ale nawet spojrzeniem. O ile przyglądał się czasem obcym (a w czasie tej krótkiej przechadzki rzucił parę razy swoje straszliwe i głębokie spojrzenie niby sondę na przechodniów nieznaczących i nader skromnego stanu), w zamian za to, o ile miałem sądzić po sobie, nie patrzył ani przez chwilę na osoby, które znał — niby obarczony tajną misją agent, który wyłącza swoich przyjaciół z zawodowego nadzoru. Zostawiając barona rozmawiającego z margrabinią i z babką, zatrzymałem Roberta w tyle:

— Powiedz mi, czy ja dobrze słyszałem, pani de Villeparisis powiedziała, że twój wuj jest Guermantes.

— Ależ tak, oczywiście, to Palamed de Guermantes.

— Czy z tych samych Guermantów, co mają zamek w pobliżu Combray i jakoby pochodzą od Genowefy Brabanckiej?

— Najzupełniej: wuj, który jest pierwszorzędny heraldyk, odpowiedziałby ci, że nasze *zawołanie*, nasz okrzyk wojenny, który później brzmiał Passavant, był zrazu Combraysis — rzekł Robert, śmiejąc się, aby się nie wydawało, że czerpie próżność w tym przywileju *zawołania*, który posiadały jedynie domy quasi-panujące, wielcy naczelnicy klanów. — Wuj Palamed jest bratem obecnego posiadacza zamku.

Tak więc wiązała się, i to bardzo blisko, z Guermantami owa pani de Villeparisis, będąca tak długo dla mnie damą, od której dostałem paczkę czekolady, będąc mały, bardziej odległa wówczas od strony Guermantes, niż gdyby była zamknięta w stronie Méséglise, mniej świetna, stawiana przeze mnie poniżej optyka z Combray, a obecnie podlegająca nagle jednej z owych fantastycznych zwyżek, równie nieprzewidzianej jak zniżka innych posiadanych przez nas przedmiotów, które to zmiany — jedno i drugie — wnoszą w naszą młodość i w te części naszego życia, w których przetrwało coś z naszej młodości, przeobrażenia równie liczne jak metamorfozy Owidiusza.

— Czy w zamku znajdują się wszystkie portrety dawnych panów na Guermantes?

— Tak, to piękny widok — rzekł ironicznie Saint-Loup. — Mówiąc między nami, wszystkie te rzeczy wydają mi się trochę głupie. Ale jest w Guermantes rzecz o wiele bardziej interesująca: bardzo wzruszający portret mojej ciotki przez Carrière'a. To piękne jak Whistler albo jak Velasquez — dodał Saint-Loup, który w gorliwości neofity nie zawsze zbyt ściśle zachowywał skalę wielkości. — Są tam też wstrząsające obrazy Gustawa Moreau. Ciotka moja jest siostrzenicą waszej przyjaciółki, pani de Villeparisis; chowała się przy niej i wyszła za swego kuzyna, obecnego diuka de Guermantes, który też jest siostrzeńcem ciotki Villeparisis.

— W takim razie czym jest twój wuj?

— Nosi tytuł barona de Charlus. Prawidłowo, kiedy mój wujeczny dziadek umarł, wuj Palamed powinien był przybrać tytuł księcia des Laumes, który nosił jego brat, zanim został księciem de Guermantes, bo w tej rodzinie zmieniają nazwiska jak koszule. Ale wuj ma na te sprawy poglądy bardzo osobiste. Że zaś uważa, iż nadużywa się trochę księstw włoskich, grandostw hiszpańskich etc., przeto, mimo iż miał do wyboru między kilkoma tytułami książęcymi, zachował tytuł barona de Charlus, manifestacyjnie i z pozorami prostoty kryjącej sporo dumy. „Dzisiaj (powiada) lada kto jest księciem, trzebaż mieć coś, co by człowieka wyróżniało; wezmę tytuł księcia, kiedy zechcę podróżować incognito”. Nie ma, wedle niego, starszego tytułu niż baron de Charlus; aby dowieść, że jest dawniejszy od Montmorency, fałszywie podających się za pierwszych baronów Francji, gdy byli tylko pierwszymi baronami Ile-de-France, gdzie było ich lenno, wuj rozwinie ci ten temat przez całe godziny, i to z przyjemnością, mimo bowiem że to jest człowiek bardzo inteligentny,

bardzo utalentowany, uważa, że to jest całkiem żywy przedmiot konwersacji — dodał z uśmiechem Saint-Loup. — Ale że ja nie jestem podobny w tym do niego, nie każesz mi chyba mówić o genealogii; nie znam nic nudniejszego, bardziej martwego, doprawdy życie jest zbyt krótkie.

W twardym spojrzeniu, które kazało mi się niedawno obejrzeć koło kasyna, poznawałem teraz to, które widziałem wlepione w siebie w Tansonville, w chwili gdy pani Swann wołała Gilbertę.

— Czy między licznymi kochankami, które, jak mi mówiłeś, miał pan de Charlus, nie było pani Swann?

— Och, bynajmniej! To znaczy, on jest wielki przyjaciel Swanna i zawsze bardzo go popierał. Ale nigdy nie słyszałem, aby był kochankiem jego żony. Wywołałbyś wielkie zdumienie w towarzystwie, gdybyś okazał, że w to wierzysz.

Nie śmiałem odpowiedzieć, że wywołałbym jeszcze większe zdumienie w Combray, gdybym okazał, że w to nie wierzę.

Babka była zachwycona panem de Charlus. Niewątpliwie, baron przywiązywał ogromną wagę do spraw urodzenia i pozycji, i babka zauważyła to, ale bez owej surowości, w której skład wchodzi zazwyczaj tajemna zazdrość i irytacja, że się widzi kogoś drugiego posiadaczem przewag, jakie na próżno chcielibyśmy mieć sami. Ponieważ, przeciwnie, babka, zadowolona ze swego losu i niezazdroszcząca nikomu światowych blasków, obserwowała wady pana de Charlus jedynie intelektualnie, mówiła o wuju Roberta z ową swobodną, uśmiechniętą, sympatyczną niemal życzliwością, jaką nagradzamy przedmiot naszej bezinteresownej obserwacji za przyjemność, jaką nam sprawia. Tym bardziej, że tym razem przedmiot był osobistością, której pretensje, o ile nie uprawnione, to bodaj malownicze, dość żywo odcinały nowo poznanego od osób, jakie babka miała sposobność widywać. Ale jeżeli tak łatwo przebaczyła panu de Charlus jego arystokratyczne przesady, to zwłaszcza przez wzgląd na jego inteligencję i wrażliwość, których żywość zgadywało się u niego, w przeciwieństwie do tylu salonowców, przedmiotu drwin Roberta. Ale wuj nie poświęcił, jak siostrzeniec, tych przesądów dla wyższych wartości. Pan de Charlus raczej pogodził jedno z drugim. Posiadając, jako potomek książąt de Nemours i de Lamballe, archiwa, meble, dywany, portrety, sporządzone dla jego przodków przez Rafaela, Velasqueza, Bouchera, mogąc słusznie powiedzieć, iż zwiedza muzeum i nieporównaną bibliotekę, gdy przeglądał jedynie swoje pamiątki rodzinne, dawał, przeciwnie, arystokratycznemu dziedzictwu rangę, z której siostrzeniec jego je strącił. Mniej wierzący w „ideę” od Roberta, mniej biorący się na słowa, większy realista w obserwowaniu ludzi, nie chciał może zaniedbać tak ważnego elementu dającego mu urok w ich oczach; czynnik ten, o ile dawał jego wyobraźni bezinteresowne satysfakcje, równie często mógł się stać potężnym środkiem dla jego praktycznych działań. Wieczna będzie różnica między ludźmi tego rodzaju a tymi, co zostają posłuszni wewnętrznemu ideałowi, każącemu się im wyżyć owych przewag, aby się wyłącznie starać urzeczywistnić ten ideał. Ci podobni są malarzom lub pisarzom wyrzekającym się wirtuozji; plemionom artystów, które się modernizują; ludom wojennym podejmującym inicjatywę powszechnego rozbrojenia; rządowi absolutnym, które się demokratyzują, wyrzekając się twardych praw. Często życie nie przynosi nagrody za ten szlachetny wysiłek; jedni bowiem tracą talent, drudzy wiekową przewagę; pacyfizm mnoży niekiedy wojny, a pobłażanie zbrodniczość. O ile dążenia Roberta do szczerości i do wyzwolenia się trzeba było uznać za bardzo szlachetne, wolno było — sądząc z rezultatu — cieszyć się, że ich zbywało panu de Charlus, który kazał przenieść do siebie większość cudownych boazerii z pałacu Guermantes, zamiast je wymienić, jak jego siostrzeniec, na urządzenie „*modern style*”, na Lebourgów i Guillauminów. Niemniej prawdą było, że ideał pana de Charlus był bardzo sztuczny, i — gdyby ten epitet można skojarzyć ze słowem *ideał* — w równym stopniu światowy co artystyczny. W kilku kobietach wielkiej piękności i rzadkiej kultury, których babki były dwa wieki wprzód wplecione w chwałę i wykwiłt dawnego panowania, baron widział dystynkcję, dzięki której podobał sobie tylko w ich towarzystwie. Podziw, jaki dla nich żywił, był z pewnością szczerzy; ale liczne reminiscencje z historii i sztuki wywołane ich nazwiskami odgrywały w tym wielką rolę, tak jak pamiątki starożytności są jednym ze źródeł przyjemności, jaką uczoney znajduje w odczytywaniu ody Horacego, mniej może wartej od dzisiejszych poematów, które zostawiłyby tegoż uczonego obojętnym. Każda z tych

kobiet, w zestawieniu z ładną mieszczańką, była dla barona tym, czym przy dzisiejszym plótnie przedstawiającym jakiś pejzaż lub wesele są owe stare obrazy, których historię znamy od papieża lub króla, co je zamówili, poprzez osoby posiadające je w drodze daru, kupna, zdobyczy lub dziedzictwa. Takie dzieła wiążą się dla nas z jakimś wydarzeniem lub co najmniej małżeństwem o historycznej doniosłości; tym samym wiadomości nabyte o nich dają im nową użyteczność, zwiększają poczucie bogactw naszej pamięci lub naszej erudycji. Pan de Charlus cieszył się, że ten sam przesąd, nie pozwalając owym kilku wielkim damom przestawać z kobietami krwi mniej czystej, oddał je jego kultowi nietknięte, w ich nieskazonym szlacheństwie, niby jakąś fasadę z XVIII wieku, wspartą płaskimi kolumnami z różowego marmuru, w niczym niezmienioną przez czas.

Pan de Charlus wielbił prawdziwe *szlacheństwo* ducha i serca tych kobiet, igrając w ten sposób terminem, mającym jego samego i kryjącym kłamstwo tego wątpliwego pojęcia, wieloznacznika arystokracji, szlachetności i sztuki, ale także jego urok, niebezpieczny dla osób takich jak moja babka. Przesady arystokraty patrzącego jedynie na rodowód i niedbającego o resztę wydałyby się jej zbyt śmieszne, ale była bez obrony z chwilą, gdy jakaś rzecz ukazywała się pod pozorami duchowej wyższości; tak iż uważała panujących za ludzi najgodniejszych zazdrości, bo mogli mieć za nauczyciela jakiegoś La Bruyere'a lub Fénelona.

Przed Grand-Hotelem troje Guermantów pożegnało nas; wybierali się na śniadanie do księżnej de Luxembourg. W chwili gdy babka żegnała się z panią de Villeparisis, a Saint-Loup z babką, pan de Charlus, który dotąd nie odezwał się do mnie ani słowem, cofnął się o kilka kroków i znalazł się przy mnie: „Zajdę dziś wieczór na herbatę do ciotki Villeparisis — rzekł. — Mam nadzieję, że zrobi mi pan tę przyjemność, aby przybyć wraz z babką”. I odszedł ku margrabinie.

Mimo że była niedziela, stało przed hotelem nie więcej fiaków niż z początkiem sezonu. Specjalnie żona rejenta uznała, że za kosztowne jest wynajmować za każdym razem powóz na to, aby nie być u państwa de Cambremer i zadowolili się siedzeniem w pokoju.

— Czy pani Blandais jest cierpiąca? — pytano rejenta. — Nie pokazała się dziś.

— Trochę ją głowa boli, upał, burza. Lada co jej szkodzi; ale sądzę, że ujrzyjcie ją państwo wieczorem. Poradziłem jej, aby zeszła. To jej tylko dobrze zrobi.

Pomyślałem, że zapraszając nas tak do ciotki (nie wątpiłem, iż musiał ją o tym uprzedzić), pan de Charlus chciał mi wynagrodzić swoją niedostateczną uprzejmość w czasie przedpołudniowej przechadzki. Ale kiedy, wszedłszy do salonu pani de Villeparisis, chciałem się przywitać z baronem, daremnie kręciłem się koło niego. Opowiadał właśnie ostrym głosem dość zjadliwą historię o którymś ze swoich krewnych. Nie mogąc pochwycić jego spojrzenia, zdecydowałem się powiedzieć mu dobry wieczór, i to dość głośno, aby go uprzedzić o mojej obecności; ale zrozumiałem, iż zauważył ją, bo zanim jeszcze jakieś słowo wyszło z moich ust, kłaniając się, ujrzałem wyciągnięte do mnie dwa palce barona, przy czym nie odwrócił oczu i nie przerwał rozmowy. Widział mnie oczywiście, nie pokazując tego. Spostrzegłem też wówczas, że jego oczy, które nigdy nie patrzyły wprost na tego, z kim rozmawiał, biegały ustawicznie we wszystkich kierunkach, jak oczy przestraszonego zwierzęcia lub oczy przekupniów ulicznych, którzy, podczas gdy zachwalają swój niedozwolony towar, badają — ale nie odwracając głowy — rozmaite punkty horyzontu, skąd mogłaby się zjawić policja. Jednakże uczułem się nieco zdziwiony, iż pani de Villeparisis, bardzo zresztą rada, że nas widzi, nie spodziewała się nas; a bardziej jeszcze, kiedy usłyszał, jak pan de Charlus mówi do babki:

— A, to bardzo dobra myśl, że państwo przyszli, to bardzo miło, prawda, ciociu?

Bez wątpienia zauważył zdziwienie pani de Villeparisis przy naszym wejściu i sądził, jak człowiek nawykły poddawać ton, że aby zmienić to zdziwienie w radość, wystarczy mu ją okazać samemu, wskazać, że to jest uczucie, jakie nasze zjawienie się powinno wywołać. W czym miał słuszność; pani de Villeparisis bowiem, która bardzo liczyła się z siostrzeńcem i wiedziała, jak trudno jest znaleźć łaskę w jego oczach, odkryła nagle jak gdyby nowe przymioty w mojej babce i rozwinęła dla niej szczególną uprzejmość. Ale ja nie mogłem pojąć, jak pan de Charlus mógł w ciągu kilku godzin zapomnieć swego zaproszenia, tak zwięzłego, ale na pozór tak umyślnego, tak celowego, jakie zwrócił do mnie rano, i czemu nazywa „dobrym pomysłem” babki pomysł pochodzący całkowicie od niego samego. Ze skrupułem ścisłości, jaki zachowałem aż do wieku, gdym pojął,

że dopytywanie się nie jest najlepszym sposobem zgłębienia czyichś intencji i że ryzyko nieporozumienia, które prawdopodobnie ujdzie niepostrzeżone, mniejsze jest niż ryzyko naiwnego nalegania, rzekłem:

— Ależ, proszę pana, pan sobie przypomina przecież, że to pan sam prosił nas, abyśmy przyszli wieczór?

Żaden dźwięk, żaden ruch, nie zdradził, czy pan de Charlus usłyszał moje pytanie. Co widząc, powtórzyłem je, jak dyplomaci lub poróżnieni młodzi ludzie, wkładający niestrudzoną i daremną dobrą wolę w to, aby uzyskać wyjaśnienia, których druga strona zdecydowana jest nie udzielić. Pan de Charlus znowu mi nie odpowiedział. Zdawało mi się, że na ustach barona igra uśmiech człowieka sądzącego z bardzo wysoka charakteru i wychowanie.

Skoro baron odmawiał wszelkiego wytłumaczenia, próbowałem je znaleźć sam, ale wahałem się między kilkoma, z których żadne nie mogło wystarczyć. Może już sobie nie przypominał, a może ja źle zrozumiałem jego słowa... Bardziej prawdopodobnie, przez dumę nie chciał, aby się wydało, iż starał się ściągnąć ludzi, którymi gardził; wołał tedy na nich samych przerzucić inicjatywę. Ale skoro nami gardził, czemu zależało mu na tym, abyśmy przyszli lub raczej aby babka przyszła, bo z nas dwojga jedynie do niej zwracał się w ciągu wieczora, a do mnie ani razu. Rozmawiając z ożywieniem z nią, zarówno jak z panią de Villeparisis, schowany niejako za nimi niby w głębi łoża, chwilami tylko odwracając badawcze spojrzenie swoich przenikliwych oczu, wlepił je w moją twarz z tą samą powagą, z tym samym nasileniem, co gdyby to był rękopis trudny do odcyfrowania.

Bez wątpienia, gdyby nie te oczy, twarz pana de Charlus byłaby podobna do twarzy wielu przystojnych mężczyzn. Saint-Loup, mówiąc ze mną o innych Guermantach, rzekł kiedyś: „Ba, oni nie mają tej rasy, tego wielkopaństwa w każdym calu, jakie ma wuj Palamed”; potwierdzając, że rasa i arystokratyczna dystynkcja nie są czymś tajemniczym i nowym, lecz polegają na składnikach, które rozpoznawałem bez trudu i bez specjalnego wrażenia. Miałem uczucie, że się rozwiewa jedno z moich złudzeń. Ale daremnie pan de Charlus zamykał hermetycznie wyraz owej twarzy, której lekka warstwa pudru dawała coś z twarzy aktora; oczy jego były niby szczelina, niby strzelnica, której nie mógł zatkać i przez którą, zależnie od punktu, z którego się nań patrzyło, czuło się nagle strzelający blask jakiejś wewnętrznej maszyny palnej, niezbyt bezpiecznej nawet dla tego, kto, nie będąc całkowicie jej panem, nosiłby ją w sobie, w stanie chwiejnej równowagi i zawsze gotową wybuchnąć. I ten oględny, a wciąż niespokojny wyraz jego oczu, z całym zmęczeniem, które dokoła nich, aż do bardzo szerokiego podkrążenia, wyrażało się w tej twarzy, mimo iż tak dobrze ułożonej i zamaskowanej, robił wrażenie jakiegoś incognito, jakiegoś przebrania potężnego człowieka w niebezpieczeństwie lub tylko osobnika niebezpiecznego, ale tragicznego. Pragnąłbym odgadnąć, co to była za tajemnica, nieistniejąca w innych ludziach — tajemnica, która mi uczyniła tak zagadkowym spojrzenie pana de Charlus, kiedym go ujrzał rano koło kasyna. Ale znane mi obecnie jego parantele nie pozwalały mi go już brać za złodzieja, a rozmowa barona nie pozwalała przypuszczać, aby to był wzrok obłąkanego. Jeżeli był chłodny dla mnie, będąc równocześnie tak uprzejmy dla mojej babki, wynikało to może nie z osobistej antypatii, bo na ogół, o ile baron wydawał się życzliwy dla kobiet, wyrażając się o ich wadach nader pobłaźliwie, o tyle żywił do mężczyzn, zwłaszcza do młodych ludzi, gwałtowną nienawiść, przypominającą nienawiść mizoginów w stosunku do kobiet. O paru „gigolo”, należących do rodziny lub do przyjaciół Roberta, a których nazwiska ów przypadkowo zacytował, pan de Charlus powiedział z wyrazem twarzy niemal okrutnym, odbijającym od jego zwykłego chłodu: „To są małe kanalie”. Zrozumiałem, iż on wyrzuca dzisiejszym młodym ludziom zwłaszcza to, że są zbyt zniewieściali: „To istne baby”, mówił ze wzgardą. Ależ jakie życie nie wydałoby się zniewieściałym wobec tego, jakiego on żądał dla mężczyzny, nigdy nie znajdując go dość energicznym i męskim? (On sam, w czasie swoich pieszych wędrówek, po kilku godzinach marszu rzucał się zgrzany w lodowate strumienie). Nie dopuszczał, aby mężczyzna nosił bodaj jeden pierścionek. Ale te męskie upodobania nie niweczyły w nim zalet najsubtelniejszej wrażliwości. Kiedy pani de Villeparisis prosiła go, aby opisał babce zamek, gdzie mieszkała pani de Sévigné, dodając, że widzi trochę literatury w jej rozpaczliwym powodzie rozłąki z tą nudną panią de Grignan, baron odparł:

— Przeciwnie, wydaje mi się to absolutnie szczerze. Była to zresztą epoka, która doskonale rozumiała te uczucia. Mieszkaniec Monomopata u La Fontaine'a, spieszący do przyjaciela dlatego, że mu się wydał nieco smutny we śnie, gołąbek tak cierpiący wskutek rozłąki z drugim gołąbkim, będą dla cioci zapewne równie przesadni jak pani de Sévigné niemogąca się doczekać chwili, gdy się znajdzie sama z córką. To takie piękne, co ona mówi, rozstawszy się z nią: „To rozstanie sprawia duszy mojej ból, który czuję wprost fizycznie. W czasie rozłąki człowiek szafuje hojnie godzinami. Posuwa się w czasie, do którego wdycha”.

Babka była uszczęśliwiona, słysząc, że pan de Charlus mówi o tych listach zupełnie tak, jakby ona o nich mówiła. Dziwiła się, że mężczyzna może je rozumieć tak dobrze. Znajdowała w panu de Charlus kobiecą delikatność i wrażliwość. Później, kiedy, zostawszy sami, rozmawialiśmy o nim, powiedzieliśmy sobie, że on musiał być pod wielkim wpływem jakiejś kobiety, swojej matki lub potem córki, o ile miał dzieci. Ja rzekłem w duchu: „kochanki”, myśląc o kochance Roberta i o wpływie, jaki jej przypisywałem, co mi pozwalało zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia kobiety, z którymi się żyje, wysubtelniają mężczyzn.

— Znalazłszy się z córką, zapewne nie miała jej nic do powiedzenia — odparła pani de Villeparisis.

— Z pewnością miała; choćby tylko, jak je nazywała, owe „rzeczy tak lekkie, że jedynie my dwie je czujemy”. W każdym razie była z nią! A La Bruyère powiada nam, że to jest wszystko: „Być obok tych, których się kocha; mówić do nich, nie mówić, to jedno”. Ma słuszność, to jedyne szczęście — dodał pan de Charlus melancholijnym głosem — i, niestety, życie jest tak źle urządzone, że tego jedyne szczęścia kosztuje się bardzo rzadko. Pani de Sévigné była w sumie mniej nieszczęśliwa od innych. Spędziła znaczną część życia z tą, którą kochała.

— Zapominasz, że to nie była miłość; chodziło o córkę.

— Ależ ważne w życiu jest nie to, kogo się kocha — podjął tonem kompetentnym, stanowczym, niemal rozstrzygającym — ważne to kochać. To, co czuła pani de Sévigné dla córki, może o wiele słuszniej pretendować do podobieństwa z namiętnością, jak Racine odmalował w *Andromace* lub w *Fedrze*, niż banalne stosunki młodego Sévigné z jego kochankami. Toż samo miłość jakiegoś mistyka do Boga. Zbyt ciasne linie demarkacyjne, jakimi określamy miłość, pochodzą jedynie z naszej nieznamości życia.

— Ty tak lubisz *Andromakę* i *Fedzę*? — spytał Saint-Loup wuja tonem lekkiej wzgardy.

— Więcej jest prawdy w jednej tragedii Racine'a niż we wszystkich dramach pana Wiktora Hugo — odparł baron.

— Ci światowcy są bądź co bądź przerażający! — szepnął mi Saint-Loup do ucha. — Woleć Racine'a od Wiktora to jednak jest monstrualne!

Był szczerze zasmucony słowami wuja, ale przyjemność powiedzenia: „bądź co bądź”, a zwłaszcza: „monstrualne”, pocieszyła go.

W tych refleksjach o smutku życia z dala od przedmiotu ukochania (które stały się powodem, że babka uznała, iż bratanek pani de Villeparisis o wiele głębiej pojmuje pewne utwory niż jego ciotka, zwłaszcza ma coś, co go stawia o wiele wyżej od większości klubowców), pan de Charlus okazywał nie tylko subtelność uczuć w istocie rzadką u mężczyzny; sam jego głos, podobny do pewnych altowych głosów, w których nie dość kształcono średnicę i których śpiew zdaje się dwugłosem młodego człowieka i kobiety, sięgał, w chwili gdy wyrażał tak delikatne myśli, wysokich nut, nabierał nieoczekiwanej słodczy i zdawał się zawierać chóry oblubienic, sióstr, przepojone tkliwością. Ale rój dziewcząt, które pan de Charlus, ze swoim wstrętem do zniewieściałości, nie rad byłby odnaleźć w swoim głosie, nie ograniczał się do interpretacji, do modulacji sentymentalnych motywów. Często, gdy baron rozmawiał, słyszało się w jego głosie ostry i świeży śmiech pensjonarek lub zalotniś, obrabiających bliźniego z całą ciętością wygadanych i sprytnych szelmeczek.

Opowiadał, że jakaś posiadłość, będąca wprzód w jego rodzinie, pałacyk, gdzie nocowała Maria Antonina, z parkiem stanowiącym dzieło Lenôtre'a, należą teraz do bogatych finansistów, państwa Izrael, którzy go kupili.

— Israel, takie przynajmniej nazwisko podają ci ludzie; mnie się to raczej wydaje termin rasowy, etniczny niż nazwisko. Nie wiadomo, może ten gatunek ludzi nie nosi nazwisk, może się ich oznacza jedynie wedle gromady, do której należą. Mniejsza! Ale być niegdyś siedzibą Guermantów i należeć do Israelów!!! — wykrzyknął. — To mi przywodzi na myśl ów pokój w zamku Blois, gdzie dozorca, który go pokazywał, powiedział: „Tu modliła się Maria Stuart; a teraz ja tu chowam swoje miotły”. Oczywiście, nie chcę nic wiedzieć o tej posiadłości, która się zhańbiła, tak samo jak o mojej kuzynce Klarze de Chimay, która rzuciła męża. Ale zachowuję fotografię tej posiadłości jeszcze nieskażonej, tak samo jak fotografię księżnej, kiedy jej wielkie oczy widziały jedynie mego kuzyna. Fotografia nabiera trochę brakującej jej godności, kiedy przestaje być odbiciem rzeczywistości i pokazuje nam rzeczy już nieistniejące. Pozwolę sobie ofiarować ją pani, skoro ten rodzaj architektury panią interesuje — rzekł do babki.

Równocześnie spostrzegłszy, że haftowana chusteczka, tkwiąca w jego kieszeni, wysuwa się kolorowym szlaczkiem, schował ją żywo ze spłoszoną miną kobiety wstydlivej, ale nie niewinnej, kryjącej swoje wdzięki, które przez nadmiar skrupułu uważa za nieprzystojne.

— Niech pani sobie wyobrazi — dodał — że ci ludzie zaczęli od zniszczenia parku Lenôtre’a; występki równy temu, co gdyby ktoś pokrajał obraz Poussina. Za to ci Israelie powinni by siedzieć w kryminale. Prawda — dodał, uśmiechając się po chwili milczenia — że jest z pewnością tyle innych rzeczy, za które powinni by siedzieć! W każdym razie, wyobraża pani sobie efekt, jaki przy tej architekturze robi angielski ogród.

— Ależ dom jest w tym samym stylu co Trianon — rzekła pani de Villeparisis — a Maria Antonina założyła tam przecie ogród angielski?

— Który, mimo wszystko, szpeci fasadę Gabriela — odparł pan de Charlus. — Oczywiście, byłoby teraz barbarzyństwem niszczyć jej sioło. Ale, na wspak duchowi chwili, wątpię, aby pod tym względem kaprys pani Izrael miał tę samą siłę, co pamięć królowej.

Tymczasem babka dała mi znak, abym szedł spać, mimo nalegań Roberta, który, ku memu wielkiemu zawstydzeniu, zrobił wobec pana de Charlus aluzję do smutku, jaki mnie ogarnia często wieczorem przed zaśnięciem, co się jego wujowi musiało wydać bardzo niemęskie. Ociągałem się jeszcze trochę, po czym wyszedłem. Bardzo się zdziwił, kiedy w chwilę później usłyszałem pukanie do drzwi, a na zapytanie, kto puka, usłyszałem głos pana de Charlus, oznajmiający sucho:

— Tu Charlus. Czy mogę wejść? Proszę pana — rzekł, zamknawszy drzwi — siostrzeniec mówił przed chwilą, że pan się czuje nieswojo przed zaśnięciem; mówił również, że pan podziwia książki pana Bergotte. Ponieważ mam z sobą jego książkę, której pan pewno nie zna, przynoszę ją, aby panu pomogła przebyć trudne chwile.

Podziękowałem ze wzruszeniem i rzekłem, iż, przeciwnie, bałem się, aby to, co Saint-Loup opowiedział mu o moim złym samopoczuciu z nadejściem nocy, nie uczyniło mnie w oczach barona jeszcze głupszym, niż jestem.

— Ależ nie — odparł łagodnie. — Nie ma pan może osobistych przymiotów, tak mało kto je posiada! Ale, na jakiś czas przynajmniej, ma pan młodość, a to jest zawsze urok. Zresztą, drogi panie, największa głupota to uważać za śmieszne lub naganne coś, czego się nie odczuwa samemu. Lubię noc, a pan mi powiada, że się pan jej boi; lubię zapach róż, a mam przyjaciela, którego on przyprawia o gorączkę. Czy pan sądzi, że ja go dlatego uważam za coś gorszego? Staram się wszystko zrozumieć i strzegę się cokolwiek potępić. W sumie, niech się pan zbytnio nie skarży; nie powiem, aby tego rodzaju smutki nie były przykre; wiem, ile można cierpieć z powodu rzeczy, których inni by nie zrozumieli. Ale przynajmniej dobrze pan umieścił swoje przywiązanie w osobie babki. Może ją pan wciąż widywać. A przy tym to jest uczucie dozwolone, chcę powiedzieć uczucie odwzajemnione. Tak wiele jest uczuć, o których nie można by tego samego powiedzieć.

Chodził po pokoju wzdłuż i wszerz, oglądając jakiś przedmiot, to znów biorąc w rękę inny. Miałem wrażenie, że ma mi coś do powiedzenia i że nie wie, w jakich słowach to uczynić.

— Mam tutaj inny tom Bergotte’a, przyniosę go panu — dodał i zadzwonił. Po chwili zjawił się groom.

— Proszę mi sprowadzić starszego kelnera. Jedyne on zdolny jest tutaj załatwić coś inteligentnie — rzekł pan de Charlus wyniośle.

— Pana Aimé, proszę jaśnie pana? — spytał groom.  
— Nie wiem, jak mu na imię... ale tak, owszem, przypominam sobie, że go tu nazywano Aimé. Biegnij prędko, to pilne.  
— Zaraz będzie tutaj, proszę jaśnie pana, właśnie go widział na dole — odparł groom, pragnąc robić wrażenie dobrze poinformowanego.  
Upłynął jakiś czas. Groom wrócił.  
— Proszę jaśnie pana, pan Aimé już poszedł spać. Ale ja mogę to załatwić.  
— Nie, po prostu zbudzisz go.  
— Proszę jaśnie pana, nie mogę, on nie sypia tutaj.  
— W takim razie zostaw nas.  
— Ależ proszę pana — rzekłem, skoro groom odszedł — pan jest zbyt dobry, jeden tom Bergotte'a wystarczy mi.  
— Ostatecznie i ja tak sądzę.

Pan de Charlus chodził po pokoju. Upłynęło tak kilka minut, po czym, po paru chwilach namysłu i wahając się kilkakrotnie, obrócił się na pięcie i swoim znów smagającym głosem rzucił mi: „Dobranoc panu”, po czym wyszedł.

Po wszystkich wzniosłych uczuciach, jakiem słyszał z jego ust tego wieczora, nazajutrz (był to dzień jego wyjazdu) rano na plaży, w chwili, gdym miał się kąpać, bardzom się zdziwił, kiedy pan de Charlus, zbliżywszy się, aby mnie uprzedzić, że babka czeka na mnie skoro tylko wyjdę z wody, uszczypnął mnie w kark i powiedział z poufałym i trywialnym śmiechem:

— Ale my mamy gdzieś naszą starą babcie, he? małe ladaco?

— Ależ panie, ja ją ubóstwiam!

— Drogi panie — rzekł lodowato pan de Charlus, cofając się o krok — jest pan jeszcze młody, powinien by pan skorzystać z tego, aby się nauczyć dwóch rzeczy. Pierwsza, to powstrzymywać się od wyrażania uczuć zbyt naturalnych, aby się ich nie można było domyślić; druga, to nie wyskakiwać z odpowiedzią na to, co ktoś mówi, zanim się nie pojmie sensu jego słów. Gdybyś pan przed chwilą zachował tę ostrożność, nie sprawiłbyś wrażenia, że pleciesz trzy po trzy, przez co przydajesz nową śmieszność do faktu, że masz wyszyte kotwice na kostiumie kąpielowym. Pożyczyłem panu książkę Bergotte'a, potrzebuję jej. Niech mi ją pan odeśle za godzinę przez tego *maitre d'hotela* o śmiesznym i głupim imieniu, który, mam nadzieję, nie śpi o tej porze. Dowiódł mi pan, że za wcześnie mówiłem panu wczoraj o urokach młodości; oddałbym panu lepszą usługę, zwracając mu uwagę na jej gapiostwo, jej nietakty i brak inteligencji. Mam nadzieję, drogi panie, że ten mały prysznic stanie się panu nie mniej zbawienny niż pańska kąpiel. Ale niech pan tak nie sterczy w miejscu, mógłby się pan zaziębić. Żegnam.

Widocznie baron pożałował tych słów, bo w jakiś czas potem otrzymałem jeszcze raz książkę, której mi pożyczył i którą mu odesłałem nie przez Aimégo (miał właśnie „wychodnię”) ale przez chłopca od windy. W safianową oprawę książki inkrustowany był wypukło płatek skóry przedstawiający gałązkę niezapominajki.

## *W cieniu zakwitających dziewcząt*



# TOM TRZECI

Po wyjeździe pana de Charlus, mogliśmy wreszcie z Robertem wybrać się na obiad do Blocha. Otóż w czasie tej małej uroczystości zrozumiałem, że anegdota, których humorem kolega nasz zbyt łatwo przeceniał, to były anegdota starszego pana Blocha, i że człowiekiem „bardzo interesującym” był zawsze któryś z przyjaciół ojca. Jest pewna ilość ludzi, których podziwiamy w dzieciństwie; ojciec odbijający inteligencją od reszty rodziny, profesor strojny w naszych oczach blaskiem metafizyki, którą nam odsłonił, kolega bardziej „awangardowy” od nas (jak Bloch w stosunku do mnie), który gardzi Mussetem z *Espoir en Dieu*, gdy my kochamy go jeszcze, kiedy zaś my dojdziemy do kultu „ojca Leconte” lub Claudela, będzie się już tylko unosił nad

*A Saint-Blaise, à la Zuecca*  
*Vous étiez, vous étiez bien aise<sup>54</sup>...*

dodając do tego

*Podoue est un fort bel endroit*  
*Où de très grands docteurs en droit*  
*...Mais j'aime mieux la polenta*  
*...Passe dans mon domino noir*  
*La Toppatelle.*

i ze wszystkich *Nocy* Musseta zapamięta tylko:

*Au Havre, devant l'Atlantique,*  
*A Venise, à l'affreux Lido,*  
*Où vient sur l'herbe d'un tombeau*  
*Mourir la pâle Adriatique...*

Otóż z człowieka, którego uwielbiamy na wiarę, zbieramy, cytujemy często z podziwem rzeczy o wiele lichsze od tych, które, zdani na własny instynkt, odrzucilibyśmy bezwzględnie, tak samo jak pisarz spożytkowuje w swojej powieści — pod pozorem, że są prawdziwe — „powiedzenia” osób, stanowiące, przeciwnie, w żywej całości element martwy i mierny. Portrety Saint-Simona — zapewne kreślone przez niego od niechcenia — są wspaniałe; powiedzenia natomiast znajomych mu dowcipnych ludzi, które przytacza jako urocze, wydają się nam mierne lub stały się niezrozumiałe. Nie raczyłby wymyślić tego, co cytuje jako tak subtelne lub barwne w ustach pani Cornuel albo Ludwika XIV. Fakt ten, który można zresztą stwierdzić u wielu innych pisarzy, zawiera kilka możebnych interpretacji; na razie wystarczy nam jedna: mianowicie, że w stanie ducha, w jakim pisarz „obserwuje”, jest on o wiele niżej poziomu, na jakim się znajduje w chwili, gdy tworzy.

Był więc w moim koledze Blochu zawarty starszy pan Bloch, zapóźniony o czterdzieści lat w stosunku do syna; opowiadał głupawe anegdotki, śmiejąc się z nich tyleż piersią mego przyjaciela, ile to czynił sam stary Bloch zewnętrzny i prawdziwy. Do śmiechu, jakim parskał ojciec, nie bez uprzedniego powtórzenia dwa lub trzy razy ostatniego słowa, iżby publiczność mogła dobrze ocenić historyjkę, przyłączał się hałaśliwy śmiech, jakim syn nie omieszkiał witać przy stole anegdot ojcowskich. I tak, po bardzo inteligentnych spostrzeżeniach, młody Bloch, ujawniając dziedzictwo rodzinne, powtórzył nam po raz trzydziesty jedno z owych powiedzonek, jakie starszy pan Bloch wydobywał jedynie (wraz ze swoim tużurkiem) w uroczyste dni, gdy młody Bloch przyprowadził kogoś, kogo warto było olśnić: któregoś ze swoich profesorów, kolegę laureata lub, tego wieczora, Roberta de Saint-Loup i mnie. Na przykład: „Bardzo tegi strategik, który nader uczenie wywiódł i dowiódł, dla jakich niezawodnych przyczyn w wojnie rosyjsko-japońskiej

Artysta, Sztuka, Prawda

<sup>54</sup>*A Saint-Blaise, à la Zuecca (...)* — wiersz Alfreda de Musset (1810–1857), spopularyzowany potem jako piosenka, mówiący o pragnieniu, by żyć i umrzeć w Wenecji. [przypis edytorski]

Japończycy będą pobici, a Rosjanie zwyciężą”; albo też: „To jest najlepszy polityk między finansistami, a najlepszy finansista między politykami”. Te powiedzonka zastępowała czasem anegdota o baronie de Rothschild lub o sir Rufusie Israels, wprowadzająca na scenę tych potentatów w sposób dwuznaczny, zdolny obudzić przekonanie, że pan Bloch zna ich osobiście.

Ja sam złapałem się na to, i ze sposobu w jaki starszy pan Bloch mówił o pisarzu Bergotte, sądziłem, że to jest jego stary przyjaciel. Otóż wszystkich dawnych ludzi pan Bloch znał jedynie „tylko tak”; widział ich po prostu z daleka w teatrze lub na bulwarach. Wyobrażał sobie zresztą, że jego własna fizys, jego nazwisko, jego osoba, nie są im obce i że spostrzegając go, muszą często wstrzymać mimowolną chęć ukłonu. Ludzie światowi, znający wybitnych ludzi w oryginale, miewający ich u siebie na obiadach, nie rozumieją ich przez to lepiej. Ale kiedy się żyło trochę w „wielkim świecie”, głupota jego mieszkańców zbyt wiele ponęt wróży nam i zbyt wiele każe nam przypuszczać inteligencji w owym skromniejszym światku, znającym wszystko „tylko tak”. Miałem sobie z tego zdać sprawę z okazji Bergotte’a.

Pan Bloch nie sam jeden cieszył się powodzeniem w swoim domu. Młody Bloch, mój kolega, miał go jeszcze więcej u sióstr, które bez przerwy zaczepiał niby to zrzędząc, spuszczać głowę w talerz i rozsmieszając je tym do łez. Przejęły zresztą język brata, którym mówiły biegle, tak jakby to był język obowiązkowy, jedyny dopuszczalny dla osób inteligentnych. Skorośmy przybyli, najstarsza rzekła do młodszej: „Idź uprzedź naszego roztropnego ojca i czcigodną macierz”.

— Suki — rzekł do nich Bloch — przedstawiam wam kawalera Saint-Loup o chyżych pociskach, który przybył na kilka dni z Doncières o budowlach z gładkiego kamienia, obfitego w konie.

Ponieważ Bloch był równie pospolity jak odczytany, przemowa kończyła się zazwyczaj jakimś mniej homeryckim żarcikiem:

— Nuże, zapnijcie trochę wasze chlamidy o pięknych klamrach, co to są za siuchty? Ostatecznie, wystawiajcie, ile chcecie, to nie moje.

I panny Bloch tarzały się ze śmiechu.

Powiedziałem ich bratu, ile radości mi sprawił, zalecając mi lekturę Bergotte’a, którego książki ubóstwiałem. Stary Bloch, znający Bergotte’a tylko z daleka, a jego życie jedynie z ulicznych plotek, miał równie pośredni sposób zapoznawania się z jego dziełami za pomocą sądów niby to literackich. Żył w świecie „obok”, w świecie ukłonów w próżnię i fałszywych sądów. Niedokładność, niekompetencja nie zmniejszają tam pewności siebie: przeciwnie. Jest to dobroczynny cud miłości własnej: skoro mało kto może mieć świetne stosunki i głęboką wiedzę, ci, którym ich zbywa, i tak uważają się za najlepiej obdarzonych. Optyka szczebli socjalnych sprawia, iż każdy uważa za najlepsze to miejsce, które sam zajmuje; taki spogląda z góry i z litością na największych, których omawia i obmawia, nie znając ich, których sądzi i lekceważy, nie rozumiejąc. Nawet w wypadkach, gdzie pomnożenie słabych osobistych zalet przez miłość własną nie zdołałoby każdemu zapewnić dawki szczęścia większej niż przypadła innym, a jemu koniecznej, zjawia się zawiść, aby dopełnić różnicy. Prawda iż, gdy zawiść wyraża się w lekceważących frazesach, wówczas słowa „nie chcę go znać” trzeba tłumaczyć jako: „nie mogę go znać”. To jest sens intelektualny. Ale sens uczuciowy jest: „nie chcę go znać”. Taki człowiek wie, że to nie jest prawda, ale mówi to nie przez prostą komedię; tak mówi, bo tak czuje, i to mu wystarcza dla zniweczenia dystansu, czyli dla szczęścia.

Ponieważ egocentryzm pozwala w ten sposób każdemu człowiekowi widzieć wszechświat ułożony piętrami poniżej niego — króla — pan Bloch fundował sobie ten zbytek, aby być królem bezlitosnym, kiedy rano przy czekoladzie, widząc podpis Bergotte’a pod artykułem w zaledwie otwartym dzienniku, udzielał mu wzgardliwie śpiesznej audjencji, wydawał wyrok i delectował się satysfakcją powtarzania przy każdym łyku wrzącego napoju: „Ten Bergotte zrobił się nie do czytania. Jak to bydlę umie być nudne! I po to abonuje się dziennik! Co za wywijasy, co za fidrygały!”. I smarował rogalik masłem.

Pozycja społeczna,  
Szczęście, Zazdrość

Pogarda

Ta złudna ważność starszego pana Blocha rozciągała się zresztą poza sferę jego prywatnych wrażeń. Po pierwsze, własne dzieci uważały go za wielkiego człowieka. Dzieci zawsze są skłonne albo obniżyć, albo przeceniać rodziców; dla dobrego syna ojciec jest zawsze najlepszym z ojców, nawet poza wszelkimi przedmiotowymi racjami podziwu. Otóż z tych racji nie był całkowicie wyzuty pan Bloch, człowiek wykształcony, sprytny, czuły ojciec. W najbliższej rodzinie lubiono go. O ile w „towarzystwie” sędzi się ludzi wedle pewnego niedorzecznego zresztą miernika i wedle reguł fałszywych, ale stałych, przez porównanie z ogółem innych wytwornych ludzi, w zamian za to w rozproszkowaniu mieszczańskiego życia obiady i wieczory rodzinne kręcą się dokoła osób, które się okrzykuje miłymi i zabawnymi, a które w „świecie” nie wytrzymałyby próby ani dwóch wieczorów. Poza tym w środowisku, gdzie nie istnieją sztuczne wielkości arystokracji, zastępuje się je wyróżnieniami jeszcze bardziej fantazyjnymi. Tak na przykład w rodzinie, a nawet u bardzo dalekich krewnych, rzekome podobieństwo w sposobie noszenia wąsów i w rysunku nosa sprawiało, że pana Blocha nazywano „omal księżę Aumale”. (W świecie „strzelców” w klubie lub w hotelu, jeden z nich, który nosi czapkę na bakier i bardzo obcisłą kurtkę, dającą mu jakoby wygląd cudzoziemskiego oficera, czyż nie staje się swego rodzaju figurą dla kolegów?)

Podobieństwo było niezmiernie mgliste, ale można by rzec, że stało się tytułem. Powtarzano: „Bloch? który? księżę Aumale?”, tak jak się mówi: „Księżna Murat? która? królowa (Neapolu)?”. Pewna ilość drobnych oznak do reszty wyposażała pana Blocha w oczach jego krewiństwa w rzekomą dystynkcję. Nie puszczając się na zbytek własnego powozu, pan Bloch wynajmował w pewne dni otwartą dwukonną wiktoryę i objeżdżał Lasek Buloński, wygodnie rozparty, z dwoma palcami na skroni, a dwoma pod brodą; o ile ci, co go nie znali, nazywali go z tego powodu bufonem, rodzina była przekonana, że co się tyczy szyku, wuj Salomon mógłby dawać lekcje samemu Gramont-Caderousse. Należał do osób, które kiedy umierają, kronika światowa dziennika „Radical” mieni „sylwetą dobrze znaną paryżanom”; a to z przyczyny sąsiedztwa stołu w bulwarowej restauracji z naczelnym redaktorem tego pisma. Pan Bloch powiedział Robertowi de Saint-Loup i mnie, iż Bergotte tak dobrze wie, czemu on mu się nie kłania, że skoro go ujrzy w teatrze lub w klubie, odwraca oczy. Saint-Loup zacerwienił się, bo pomyślał, że ten klub to nie mógł być Jockey Club, którego ojciec jego był swego czasu prezesem. Z drugiej strony, musiał to być klub stosunkowo zamknięty, bo pan Bloch powiedział, że już by tam dziś Bergotte’a nie przyjęli. Toteż drżąc, że może „nie docenia przeciwnika”, Saint-Loup zapytał, czy to jest klub z ulicy Royale, uważany przez rodzinę Roberta za kompromitujący, a gdzie (jak słyszał) przyjmowano niektórych Izraelitów.

— Nie — odparł pan Bloch z niedbałym i dumnym zażenowaniem — to mały klubik, o wiele przyjemniejszy: Klub *Safandulów*. Bardzo się tam surowo obrabia cały światek.

— Czy to nie sir Rufus Israels jest tam prezesem? — spytał młody Bloch, chcąc dostarczyć ojcu sposobności szczytnej kłamstwa i nie domyślając się, że ów finansista nie posiada w oczach Roberta tyle uroku, co w jego własnych. W rzeczywistości do klubu Safandulów należał nie sir Rufus Israels, ale jeden z jego urzędników. Że jednak był bardzo dobrze ze swoim pryncypałem, miał do dyspozycji bilety wizytowe wielkiego finansisty i dawał taki bilet panu Bloch, kiedy ów jechał w podróż jedną z linii kolejowych, gdzie sir Rufus był w zarządzie; co sprawiało, że stary Bloch mówił: „Zajdę do klubu poprosić o rekomendację sir Rufusa”. I bilet pozwalał mu ośniewać konduktorów.

Panny Bloch bardziej zainteresowały się Bergottem; zaczem wracając do niego, zamiast się trzymać tematu „Safandulów”, młodsza spytała brata najpoważniej w świecie, bo sądziła, że nie ma na oznaczenie ludzi z talentem innych wyrażań:

— Czy to jest naprawdę tak zadziwiający facet, ten Bergotte? Czy on należy do kategorii wielkich mogółów, facetów takich jak Villiers lub Catulle?

— Spotykałem go często na premierach — rzekł pan Nissim Bernard. — Bardzo niezgrabny, istny Schlemihl.

Ta aluzja do powiastki Chamissa nie była niczym ważnym, ale epitet *Schlemihl* należał do owego pół-niemieckiego, pół-żydowskiego dialektu, którym pan Bloch z lubością posługiwał się w zaciszu domowym, ale który uważał za pospolity i niewłaściwy przy obcych. Toteż objął wujaszka surowym spojrzeniem.

— Ma talent — powiedział Bloch.

— A! — rzekła poważnie siostra, jakby chcąc powiedzieć, że w tych warunkach można mnie usprawiedliwić.

— Wszyscy pisarze mają talent — rzekł z pogardą starszy pan Bloch.

— Zdaje się nawet — rzekł syn, podnosząc widelec i mrużąc oczy z diaboliczną ironią, że on ma zamiar kandydować do Akademii.

— Dajże pokój, nie ma na to dostatecznej wagi — odparł starszy pan Bloch, który nie zdawał się żywić dla Akademii tej samej pogardy co jego potomstwo. — Nie ma potrzebnego kalibru.

— Zresztą Akademia, to jest salon, a Bergotte nie ma dosyć szlif — oświadczył ciepły wujaszek pani Bloch, nieszkodliwy i dobroduszny jegomość, którego nazwisko *Bernard* byłoby może samo przez się obudziło diagnostyczne dary mego dziadka, ale wydałoby się nie dość zharmonizowane z twarzą, jakby przeniesioną z pałacu Dariusza i odtworzoną przez panią Dieulafoy, gdyby imię *Nissim*, wybrane przez jakiegoś amatora pragnącego dać wschodnie uwieńczenie tej suzańskiej twarzy, nie było nad nią umieściło skrzydeł jakiegoś byka z ludzką głową z Chorsabad. Ale pan Bloch nie przestawał lżyć wuja, czy że podniecała go bezbronna dobroduszność ofiary, czy że wobec tego, iż wille opłacał pan Nissim Bernard, korzystający z niej Bloch chciał okazać, że zachowuje swoją niezawisłość, a zwłaszcza że się nie stara pochlebstwem zapewnić sobie spadku po bogaczu. Pan Bernard był dotknięty zwłaszcza tym, że go traktują tak ordynarnie przy lokaju. Mruknął jakieś niezrozumiałe słowa, z których można było tylko rozróżnić: „kiedy *meszuresy* są w pokoju”. *Meszures* oznacza w Biblii sługę bożego. Między sobą Blochowie określali tym wyrażeniem służących i bawili się tym zawsze, pewność bowiem, że ich nie rozumieją ani chrześcijanie, ani sama służba, cieszyła pana Nissim Bernard i pana Bloch w ich podwójnej właściwości chlebobawców i Żydów. Ale to ostatnie źródło radości stawało się źródłem niezadowolenia, kiedy byli goście. Wówczas pan Bloch, słysząc to *meszures*, znajdował, że wuj zanadto odsłania swoją stronę orientálną, tak samo jak kokota, zaprosiwszy swoje przyjaciółki razem z przyzwoitymi ludźmi, wścieka się, gdy one robią aluzje do swego zawodu lub używają brzydkich słów. Toteż prośba wuja nie tylko nie zrobiła wrażenia na panu Bloch, ale ten, wyprowadzony z równowagi, nie mógł się już powstrzymać. Nie stracił już ani jednej sposobności prześladowania nieszczęsnego wuja. „Oczywiście, kiedy jest okazja powiedzenia jakiegoś kołtuństwa *à la* pan Prudhomme, można być pewnym, że jej wuj nie przepuści. Pierwszy lizałbyś mu nogi, gdyby był tutaj” — krzyknął pan Bloch, podczas gdy pan Nissim Bernard, zasmucony, pochylił ku talerzowi swoją pierścienistą brodę, godną króla Sargonu. Mój kolega, od czasu jak też nosił brodę, również kędzierzawą i granatową, bardzo był podobny do swego wuja.

— Jak to, pan jesteś synem margrabiego de Marsantes, ależ ja go bardzo dobrze znam — rzekł pan Nissim Bernard do Roberta. Myślałem, że chciał powiedzieć „znałem” w sensie, w jakim pan Bloch mówił, że zna Bergotte’a, to znaczy z widzenia. Ale pan Bernard dodał — Ojciec pański był moim bliskim przyjacielem.

Młody Bloch zaczerwił się mocno, ojciec jego miał minę głęboko niezadowoloną, panny Bloch dławily się od śmiechu. Bo u pana Nissim Bernard pasja popisu, powściągnięta u starego Blocha i u jego dzieci, zrodziła zwyczaj ustawicznego kłamstwa. Na przykład w czasie podróży, mieszkając w hotelu, pan Nissim Bernard (tak jak mógłby to zrobić starszy pan Bloch) kazał lokajowi przynosić sobie dzienniki do jadalni podczas śniadania, kiedy wszyscy siedzieli przy stole, aby widziano, że podróżuje z lokajem. Ale ludziom, z którymi zbliżył się w hotelu, wuj mówił (czego by nigdy nie zrobił jego siostrzeniec), że jest senatorem. Wiedział, iż kiedyś wyjdzie na jaw uzurpacja tego tytułu: w danej chwili nie mógł się oprzeć żądzy przechwałki. Pan Bloch wiele cierpiał od kłamstw wuja i od wszystkich kłopotów, jakie mu sprawiały.

— Niech pan nie zważa, on jest straszny blagier — rzekł półgłosem do Roberta, którego zajęło to tym żywiej, ile że się interesował bardzo psychologią kłamców. — Kłamiwszy<sup>55</sup> jeszcze niż Itakanin Odys, którego Atene nazywała wszelako najkłamiwszym z ludzi — uzupełnił nasz kolega Bloch.

— A to dopiero! — wykrzyknął pan Nissim Bernard — czyż ja się spodziewałem, że będą jadł obiad z synem mego przyjaciela. Ależ ja mam w Paryżu fotografię pańskiego oj-

<sup>55</sup>kłamiwszy, najkłamiwszy — dziś: bardziej kłamiwy, najbardziej kłamiwy. [przypis edytorski]

ca i nie wiem ile listów od niego. Nazywał mnie zawsze „swoim wujaszkiem”, nikt nigdy nie wiedział czemu. To był uroczy człowiek, czarujący. Przypominam sobie jeden obiad u mnie w Nizzy, gdzie byli Sardou, Labiche, Augier... („Molier, Racine, Corneille” dodał ironicznie starszy pan Bloch, a młody dokończył: „Plaut, Menander, Kalidasa”. Pan Nissim Bernard, dotknięty, urywał nagle i pozbawiając się ascetycznie wielkiej przyjemności, wytrwał w milczeniu do końca obiadu.)

— Saint-Loup o kasku ze spiżu — rzekł Bloch — dobierz no trochę tej kaczki o udach ciężkich od tłuszczu, na które znamienity ofiarnik ptactwa rozlał mnogie libacje czerwonego wina.

Zazwyczaj, wydobywszy na intencję znamienitszego gościa anegdoty dotyczące sir Rufusa Israels i innych, pan Bloch, czując, że wzruszył syna aż do rozczulenia, wycofywał się, aby się nie „spospolitować” w oczach „smyka”. Ale kiedy była jakaś całkiem wyjątkowa okazja, na przykład kiedy syn zdał doktorat, do zwykłej serii anegdot pan Bloch dodawał tę ironiczną uwagę, którą zachowywał raczej dla swoich osobistych przyjaciół (toteż młody Bloch był nadzwyczaj dumny, kiedy ojciec uraczył nią jego kolegów): „Rząd popełnił straszliwą gafę. Nie poradził się pana Coquelin! Pan Coquelin raczył wyrazić swoje niezadowolenie”. (Pan Bloch lubił pozować na reakcjonistę i afiszować się z pogardą dla aktorów).

Ale panny Bloch i ich brat zacerwienili się po uszy ze wzruszenia, kiedy starszy pan Bloch, chcąc się do końca okazać królewskim wobec przyjaciół syna, kazał podać szampana i oznajmił niedbale, że aby nas uraczyć, polecił kupić trzy fotele na przedstawienie, jakie Opéra-Comique dawała tego wieczora w kasynie. Żałował, że nie mógł dostać łoża. Były wszystkie zajęte. Zresztą zna te łoża, lepiej się widzi z fotelów. Ale o ile wadą syna (to znaczy tym, co syn uważał za niewidoczne dla oczu drugich) była ordynarność, wadą ojca było skąpstwo. Toteż pod nazwą szampana kazał dać w karafce lekkie musujące wino, a pod nazwą foteli wziął parterowe krzesła, o połowę tańsze, cudownie przeświadczony, dzięki boskiej interwencji swojej wady, że ani przy stole, ani w teatrze (gdzie wszystkie łoża były puste), nikt nie spostrzeże różnicy. Skoro nas pan Bloch napoił z płaskich kieliszków, które syn jego ozdobił mianem „pucharów o głęboko wydrążonych ścianach”, kazał nam podziwiać obraz, który tak kochał, że go przywoził z sobą do Balbec. Oznajmił nam, że to jest Rubens. Saint-Loup spytał naiwnie, czy jest podpisany. Pan Bloch odpowiedział, rumieniąc się, że kazał ściąć podpis z powodu ramy, co jest bez znaczenia, skoro nie ma zamiaru sprzedawać. Po czym pożegnał nas spieszenie, aby się zagłębić w „Journal Officiel”, którego numery zagrażały mieszkaniu: lektura niezbędna dlań „wobec jego sytuacji parlamentarnej”, co do której charakteru nie dał nam ściślejszych wyjaśnień.

— Biorę szalik — oświadczył Bloch — jako że Zefir i Boreasz walczą ze sobą o lepsze na rybodajnym morzu, o ile się zaś trochę zapóźnimy po przedstawieniu, wrócimy aż o pierwszych blaskach różanopalcej Eos.

— *À propos* — spytał Roberta, kiedyśmy się znaleźli na dworze — kto jest ten pocieszny facet w ciemnym garniturze, który się tryndał za wami po plaży przedwczoraj rano?

Zadrzałem, bom pojął natychmiast, że Bloch mówi z tą ironią o panu de Charlus.

— To mój wuj — odrzekł Saint-Loup urażony.

Nieszczęściem, „gafa” nie była rzeczą, której się Blochowi zdarzyło kiedy uniknąć. Aż go skręciło ze śmiechu:

— Moje uszanowanie! powinienem się być domyślić, ma pierwszorzędny szyk i nieopłaconą fizys ramola wysokiej klasy.

— Mylisz się najzupełniej, jest bardzo inteligentny — odparł Saint-Loup wściekły.

— W takim razie żałuję, bo jest mniej stylowy. Chętnie bym go zresztą poznał, jestem pewien, że bym napisał jakiś pełnowartościowy interes o takich cacusiach. Ten, na oko, jest morderczy. Ale pominąłbym stronę karykaturalną (w gruncie dość lichego gatunku dla artysty rozkochanego w plastycznym pięknie słowa) tej facjaty, która, daruj mi, rozśmieszyła mnie do łez na dobrą chwilę; uwydatniłbym arystokratyczną stronę twojego wuja, który w gruncie robi byczy efekt i skoro przejdzie pierwsza uciecha, frapuje bardzo wielkim stylem. Ale — rzekł, zwracając się tym razem do mnie — jest pewna rzecz, w całkiem innej kategorii pojęć, o którą chciałem cię spytać; i za każdym razem, kiedy

się spotkamy, jakiś bóg, błogosławiony mieszkaniec Olimpu, każe mi całkowicie zapomnieć, że cię mam prosić o tę wiadomość, która już mogła mi być i z pewnością będzie mi bardzo użyteczna. Kto to jest ta piękna osoba, z którą spotkałem cię w zoologicznym ogrodzie, w towarzystwie pana (zdaje mi się, że go znam z widzenia) i panienki z długimi włosami?

Widziałem, że pani Swann nie pamiętała nazwiska Blocha, skoro mi wymieniła inne i określiła mego kolegę jako urzędnika ministerstwa; nigdy od tego czasu nie przyszło mi na myśl dowiedzieć się, czy Bloch istotnie tam pracuje. Ale w jaki sposób Bloch, który, wedle tego, co mi pani Swann wówczas powiedziała, był jej przedstawiony, mógł nie znać jej nazwiska? Byłem tak zdziwiony, że przez chwilę nie umiałem mu odpowiedzieć.

— W każdym razie, przyjm moje powinszowanie; nie musiałeś się z nią nudzić. Spotkałem ją kilka dni pierwej w kolejce obwodowej; pozwoliła zmierzyć swój obwód twojemu słudze; nigdy nie spędziłem równie lubych chwil i mieliśmy przedsięwziąć wszystkie kroki, aby się zobaczyć znowu, kiedy jakaś osoba, jej znajoma, miała tę niedelikatność, aby się wpakować do przedziału na przedostatniej stacji.

Milczenie, jakie zachowałem, nie podobало się widocznie Blochowi.

— Miałem nadzieję — rzekł — dowiedzieć się dzięki tobie jej adresu i iść do niej kosztować kilka razy na tydzień rozkoszy Erosa, miłego bogom; ale nie nalegam, skoro ty się bawisz w dyskrecję wobec fachowej wydry, która mi się oddała trzy razy z rzędu, i to w sposób najbardziej wyrafinowany, między Paryżem a Point-du-Jour. Odnajdę ją któregoś wieczora, prędzej lub później.

Byłem u Blocha z wizytą w następstwie tego obiadu, on mnie rewizytował, ale nie zastał mnie w domu. Zauważyła go Franciszka, która przypadkowo, mimo że bywał w Combray, nigdy go dotąd nie widziała. Tak iż wiedziała tylko, że to „ktoś z państwa, które znałem” przyszedł do mnie „z wizytami”; nie wiedziała „z jakim powodem”, ubrany „tak sobie”; słowem, nie zrobił na niej wielkiego wrażenia. Wiedziałem, że niektóre pojęcia socjalne Franciszki pozostaną mi wiecznie nieprzeniknione; a polegały one może w części na pomieszaniu słów i nazwisk, które raz na zawsze wzięła jedne za drugie; mimo to nie mogłem się powstrzymać (ja, który od tak dawna wyrzekłem się stawiania sobie pytań w takich wypadkach) od daremnych zresztą dociekań, co może być dla Franciszki imponującego w nazwisku „Bloch”. Bo ledwie jej powiedział, że ów młody człowiek, którego widziała, to jest pan Bloch, cofnęła się o kilka kroków, tak wielkie było jej zdumienie i zawód.

— Jak to! To jest pan Bloch! — wykrzyknęła z miną osłupiałą, jak gdyby osoba tak niezwykła musiała mieć coś dającego natychmiast poznać, że jesteśmy w obliczu kogoś z możliwych tego świata. I jak ktoś, kto znajduje, że jakaś figura historyczna nie jest na wysokości swojej reputacji, powtarzała ze wzruszeniem, w którym czuło się na przyszłość zarodki generalnego sceptycyzmu — Jak to, to jest pan Bloch! Och, faktycznie, nie powiedziałoby się tego na oko!

Robiła wrażenie, że ma żal do mnie, jakbym ja jej kiedy „przechwalił” Blocha. A mimo to miała tę dobroć, aby dodać:

— Ano, chociaż to jest pan Bloch, panicz może sobie powiedzieć, że wygląda nie gorzej od niego.

Niebawem przeżyła w stosunku do Roberta de Saint-Loup, którego ubóstwiała, rozczarowanie innego rodzaju i mniej trwałe: dowiedziała się, że on jest republikanin. Otóż, mimo iż mówiąc na przykład o królowej portugalskiej, wyrażała się z tym brakiem uszanowania, jaki u ludu jest najwyższym uszanowaniem: „Amelia, siostra Filipa”, Franciszka była rojalistką. Ale zwłaszcza margrabia, margrabia, który ją oślął, a który był za Republiką, nie wydawał się jej już autentyczny. Objawiała to samo niezadowolenie, co gdybym jej dał puzderko rzekomo złote, za które by mi podziękowała z zapalem, a potem jubiler powiedziałby jej, że to tombak. Natychmiast odjęła swój szacunek Robertowi, ale niebawem zwróciła mu go, zastanowiwszy się, że nie może, będąc margrabią de Saint-Loup, być republikaninem, że tylko udaje dla interesu, bo przy obecnie panującym rządzie to mu może grubo przynosić. Od tego dnia chłód jej wobec niego, uraza jej do mnie znikły.

I kiedy mówiła o Robercie, powiadała: „Taki fałszywy” z takim szerokim i poczciwym uśmiechem, okazującym wymownie, że go „uważa” znów tyle co pierwszego dnia i że mu przebaczyła.

Otóż, wręcz przeciwnie, Robert był absolutnie szczerzy i bezinteresowny; i ta właśnie wielka czystość moralna, nie mogąc znaleźć całkowitego zaspokojenia w uczuciu samolubnym, jak miłość, z drugiej strony nie czując niemożliwości — tak jak ją czułem ja — znalezienia pokarmu duchowego gdzie indziej niż w sobie samym, czyniła go naprawdę zdolnym do przyjaźni w tym samym stopniu, w jakim ja byłem do niej niezdolny.

Nie mniej myliła się Franciszka co do Roberta, gdy powiadała, że on niby to nie gardzi prostymi ludźmi, ale to nieprawda: wystarczy go widzieć, kiedy się rozżłości na stangreta! Zdarzało się w istocie Robertowi polajac go dość żywo, co dowodziło u niego poczucia nie tyle różnicy, co równości między klasami.

— Ależ — odpowiedział na moje wyrzuty, że potraktował nieco szorstko owego stangreta — czemuż miałbym się silić z nim na grzeczność? Czyż on nie jest mi równy? Czy nie jest tym samym co wujowie lub kuzyni? Ty zdajesz się uważać, że ja powinienem go traktować ze specjalnymi względami jak niższego od siebie. Mówisz jak arystokrata — dodał ze wzgardą.

W istocie, jeżeli była klasa, wobec której Robert był uprzedzony i stronniczy, to była nią arystokracja, tak iż równie trudno mógł uwierzyć w wyższość człowieka światowego, jak łatwo wierzył w wyższość człowieka z ludu. Kiedy mu raz wspomniałem o księżnej de Luxembourg, którą spotkałem z jego ciotką:

— Geś! — powiedział — jak wszystkie jej podobne. To zresztą po trochu moja kuzynka.

Mając uprzedzenie do ludzi światowych, sam bywał „w świecie” mało, a wzdarliwa lub wroga postawa, jaką tam przybierał, wzmagała jeszcze u wszystkich bliskich krewnych zgrzyotę z powodu jego stosunku z „aktorzycą”, stosunku, który ich zdaniem stał się dla Roberta oplakany, rozwijając w nim ten zmysł krytyki, tego ducha opozycji, sprowadzając go z dobrej drogi, zanim go „zdeklasuje” zupełnie. Toteż złota młodzież z Faubourg Saint-Germain była bez litości, kiedy mówiono o kochance Roberta: „Dziwki robią swój fach — powiadali — warte są tyle co inne, ale nie ta! Nie darujemy jej tego! Za dużo złego wyrządziła komuś, kogo kochamy”. Z pewnością Saint-Loup nie był pierwszym, który się zaplątał w taką historię. Ale inni bawili się jak ludzie światowi, zachowali nadal poglądy ludzi światowych w polityce, we wszystkim. Natomiast co do Roberta, rodzina uważała, że on się „zepsuł”. Nie zdawali sobie sprawy, że dla wielu młodych salonowców, którzy bez tego zostaliby nieokrzesani, gruboskórni w uczuciach, pozbawieni dobroci i smaku, kochanka staje się często prawdziwym ich nauczycielem, a stosunek tego rodzaju jedyną szkołą moralną, gdzie nabywają wyższej kultury, gdzie poznają wartość bezinteresownego myślenia. Nawet w najniższych warstwach (które pod względem gruboskórności tak często przypominają wielki świat) kobieta, wrażliwsza, subtelniejsza, mniej zapracowana, ma ciekawość pewnych wyrafinowań, ceni pewien wdzięk uczuć i sztuki, który, choćby go nie rozumiała, stawia wszelako ponad to, co się wydaje mężczyźnie najbardziej upragnione — pieniądze, stanowisko. Otóż czy chodzi o metresę młodego klubowca jak Saint-Loup, czy o kochankę młodego robotnika (elektrotechnicy na przykład stanowią dziś szeregi prawdziwego rycerstwa), amant ma dla niej zbyt wiele podziwu i szacunku, aby nie miał rozciągnąć tych uczuć na to, co ona sama poważa i podziwia i co dla niego przeobraża skalę wartości. Jest wątpliwa przez samą swoją pleć, ma niewytłumaczone zaburzenia nerwowe, które u mężczyzny, a nawet u innej kobiety, ciotki lub kuzynki, przyprawiłyby tego tęgiego chłopaka o uśmiech. Ale nie może patrzeć na cierpienia tej, którą kocha. Młody panicz, gdy jak Saint-Loup ma kochankę, uczy się, idąc z nią do restauracji, mieć w kieszeni walerianę, której ona może potrzebować; uczy się zalecać kelnerowi stanowczo i bez ironii, aby zamykał drzwi uważnie i bez hałasu, aby nie stroił stołu wilgotnym mchem, grożącym kochance owymi dolegliwościami, jakich osobiście nigdy nie odczuwał. Właśnie te słabości stwarzają dlań tajemniczy świat, w którego realność ona nauczyła go wierzyć; słabości, z którymi współczuje teraz, nie potrzebując nawet ich znać, z którymi będzie współczuł nawet u innej kobiety. Kochanka Roberta — jak pierwsi średniowieczni mnisi chrześcijaństwa — wszczepiła mu litość dla zwierząt, które namiętnie kochała, nie ruszając się nigdy bez swego psa, bez swoich kanarków i papużek;

i Saint-Loup czuwał nad nimi z macierzyńską troskliwością i traktował jak bydłaków ludzi bez serca dla zwierząt. Z drugiej strony, aktorka lub rzekoma aktorka, jak ta, co żyła z Robertem — czy była inteligentna czy nie, czego nie wiedziałem, sprawiając, że się nudził w towarzystwie światowych dam i uważał za pilę proszone wieczory, uchroniła go od snobizmu i wyleczyła z salonowości. Jeżeli dzięki niej stosunki światowe mniej zajmowały miejsca w życiu jej młodego kochanka, w zamian za to uczyła go szukać w przyjaźni czegoś szlachetniejszego, wyrafinowanego, podczas gdy, gdyby był został zwykłym złotym młodzieńcem, stosunki jego regulowałyby próżność lub interes, a brutalność dawałaby im styl. Ze swoim kobiecym instynktem, szczególnie ceniąc w mężczyznach wrażliwość, którą sam z siebie kochanek jej byłby może zmroził i wyszydził, natychmiast umiała pośród przyjaciół Roberta poznać i wyróżnić człowieka mającego dlań szczere przywiązanie. Umiała Roberta zmusić, aby czuł dla tego człowieka wdzięczność, aby mu ją okazał, aby umiał zauważyć, co mu sprawia przyjemność lub przykrość. I niebawem Saint-Loup, już bez jej uwag, zaczął dbać o to wszystko, i w Balbec, gdzie jej nie było, dla mnie, którego ona nigdy nie widziała i o którym on jej może nie wspomniał nawet jeszcze w listach, sam z siebie podnosił szybę w powozie, usuwał kwiaty, które mi szkodziły, i kiedy, odchodząc, miał się zegnać z kilkoma naraz osobami, starał się pożegnać je nieco wcześniej, aby zostać na końcu sam ze mną, aby zrobić tę różnicę między nimi a mną, aby mnie traktować inaczej niż innych. Kochanka otwarła umysł Roberta na Niewidzialne, pogłębiła jego życie, wysubtelniła serce, ale wszystko to uchodziło wzroku zbolalej rodziny, która powtarzała: „Ta szelma go zabije, okrywa go hańbą”. To prawda, że w końcu Robert wziął z kochanki wszystko dobre, jakie mu mogła dać, i teraz była jedynie przyczyną, że cierpiał bez ustanku, bo nabrała doń wstrętu i dręczyła go. Zaczęła pewnego dnia uważać, że jest śmieszny i głupi, bo wmówili to w nią przyjaciele, których miała wśród młodych autorów i aktorów, a ona powtarzała z kolei to, co jej powiedzieli, z taką pasją, z taką bezwzględnością, jaką okazujemy za każdym razem, kiedy przejmujemy od drugich i przyswajamy sobie opinie lub zwyczaje zupełnie nam obce. Głosiła chętnie, jak tamci kabotyni, że między Robertem a nią jest przepaść nie do przebycia, bo są innej rasy: ona jest intelektualistka, a on, co bądź by w siebie wmawiał, jest z urodzenia wrogiem inteligencji. Ten pogląd zdawał się jej głęboki, szukała jego potwierdzenia w najbłaższych słowach, w najbliższym geście kochanka. Ale kiedy ci sami przyjaciele przekonali ją jeszcze, że ona niweczy w tak nieodpowiednim dla niej towarzystwie wielkie nadzieje, które — jak twierdzili — wróżyła; że ten kochanek zaciąży w końcu na niej; że żyjąc z nim zabija swoją przyszłość artystki, wówczas wzgarda dla Roberta zmieniła się w nienawiść, jak gdyby on się uparł zaszczepić jej śmiertelną chorobę. Widywała go jak najmniej, mimo iż odwlekała jeszcze ostateczne zerwanie, które mi się zdawało mało prawdopodobne. Saint-Loup robił dla niej tyle, że niełatwo znalazłaby człowieka, który by go w tym zastąpił, o ile nie była cudownie piękna. (Ale on nigdy nie chciał mi pokazać jej fotografii powiadając: „Po pierwsze, to nie jest piękność, a po wtóre, ona źle wychodzi na fotografii; to są tylko migawki, które ja sam robiłem swoim kodakiem, dałyby ci fałszywe pojęcie o niej”). Nie rozumiałem, że pewna mania zdobycia sobie nazwiska, nawet kiedy się nie ma talentu, że uznanie, samo tylko prywatne uznanie osób, które nam imponują (co może zresztą nie miało miejsca, jeżeli chodzi o kochankę Roberta), mogą się stać nawet dla zwykłej kokotki pobudką bardziej decydującą niż przyjemność zgarniania pieniędzy.

Saint-Loup, nie rozumiejąc dobrze, co się dzieje w duszy kochanki, nie sądził, aby ona była całkowicie szczerą zarówno w niesprawiedliwych wymówkach, co w zakłękach wiecznej miłości; ale miał chwilami poczucie, że ona zerwałaby z nim, kiedy by mogła, i z tej przyczyny, wiedziony zapewne instynktem samozachowawczym swojej miłości, bardziej jasnovidzącym od niego samego, posługując się zresztą zręcznością praktyczną, która szła u niego w parze z najgwałtowniejszymi i najbardziej ślepymi porywami serca, nie chciał jej dać w rękę kapitału. Zapożyczał się na wielkie sumy, iżby jej nie zbywało na niczym, ale udzielał ich jej tylko z dnia na dzień. I zapewne, w razie jeżeli ona naprawdę myślała o tym, aby go rzucić, czekała zimno, aż sobie coś „uciula”, co przy sumach, jakie jej dawał Saint-Loup, wymagało niewątpliwie czasu bardzo krótkiego, ale w każdym razie czas ten stanowił naddatek zdolny przedłużyć szczęście mego nowego przyjaciela — lub jego nieszczęście.



Ten dramatyczny okres ich stosunku doszedł teraz do najostrzejszego punktu, najokrutniejszego dla Roberta. Zabroniła mu zostać w Paryżu, gdzie ją drażniła jego obecność; zmusiła go, aby spędził urlop w Balbec w pobliżu swego garnizonu. Zaczęło się to jednego dnia u ciotki Roberta, na której Saint-Loup wymógł zaproszenie dla swojej kochanki: miała wobec licznych gości recytować fragmenty symbolistycznej sztuki, którą grała raz na scenie awangardy i dla której udzieliła Robertowi własnego podziwu.

Ale kiedy się zjawiała z wielką lilią w ręce, w kostiumie skopiowanym z *Ancilla Domini* i mającym być — jak to wmówiła Robertowi — prawdziwą „wizją sztuki”, owo zebranie klubowców i wielkich dam powitało jej wejście uśmiechami, które monotonne zawođenje, dziwność pewnych słów, ich częste powtarzanie się, zmieniły w szalony śmiech, najpierw dławiony, potem tak nieodparty, że biedna recytatorka nie mogła mówić dalej. Nazajutrz ciotka Roberta spotkała się z ogólnym potępieniem za to, że pozwoliła wystąpić u siebie pociesznej kabotynce. Pewien dobrze znany książę nie taił jej, że jeżeli ściągnęła na siebie krytykę, sama jest sobie winna.

— Cóż u diaska, nie można nas częstować numerami tego rodzaju! Gdybyż jeszcze miała talent; ale nie ma go i nie będzie miała nigdy. Do kata! Paryż nie jest tak głupi, jak się to utrzymuje. Towarzystwo nie składa się z samych idiotów. Ta panienska myślała najwidoczniej, że zadziwi Paryż. Ale Paryż jest nieco trudniejszy do zadziwienia i mimo wszystko są rzeczy, do których przełknięcia nikt nas nie zmusi.

Co się tyczy artystki, wyszła, powiadając do Roberta:

— Do jakich krów, do jakich dziwek bez wychowania, do jakich parobków ty mnie zaprowadziłeś? Zatem wiedz, nie było tam ani jednego mężczyzny, który by nie robił do mnie oka albo nie trącał mnie nogą, i dlatego żem odepchnęła ich chamskie zaloty, próbowali się zemścić.

Słowa te zmieniły antypatię Roberta do salonowców we wstręt znacznie głębszy i boleśniejszy, a wstręt ten budził w nim osobliwie ci, co najmniej na to zasługiwali, oddani krewni, którzy, wydelegowani przez rodzinę, starali się namówić kochankę Roberta, aby się z nim rozstała, gdy ona wytłumaczyła mu ten krok ich miłością do niej. Robert zerwał z nimi natychmiast stosunki; ale kiedy, jak teraz, był daleko od swojej przyjaciółki, wyobrażał sobie, że ci lub inni korzystają z tego, aby przypuszczać ataki i że może zdołali coś wskórać. I kiedy mówił o donżuanach, którzy zdradzają swoich przyjaciół, deprawują kobiety lub starają się je ściągnąć do domu schadzek, twarz jego dyszała cierpieniem i nienawiścią.

— Zabiłbym każdego takiego z mniejszym wyrzutem sumienia niż psa. Pies jest przynajmniej zwierzę miłe, uczciwe i wierne. Ale tacy warci są gilotyny bardziej niż biedacy, których przywiódł do zbrodni nędza i okrucieństwo bogaczy.

Spędzał przeważnie czas na wysyłaniu listów i depech do kochanki. Za każdym razem, kiedy ona, nie pozwalając mu przyjechać do Paryża, znalazła sposób pokłócenia się z nim na odległość, poznawałem to z jego zmienionej twarzy. Ponieważ nie mówiła nigdy, co mu ma do zarzucenia, podejrzewał, iż skoro nie mówi, to może sama nie wie i po prostu ma go dość; mimo to pragnął się z nią rozmówić; pisał do niej: „Powiedz mi, co ja zrobiłem złego. Jestem gotów uznać swoje winy”; zgryzota, jakiej doznawał, utrwałała w nim przeświadczenie własnych błędów.

Ale ona dawała mu bez końca czekać na odpowiedzi, pozbawione zresztą sensu. Toteż prawie zawsze z chmurnym czołem, a często z próżnymi rękami, Robert wracał z poczty, gdzie sam z całego hotelu, wraz z Franciszką, chodził po list lub sam zanosił listy, on przez niecierpliwość kochanka, ona przez nieufność służącej. (Z depechami musiał chodzić znacznie dalej).

Kiedy w kilka dni po obiedzie u Blochów, babka oznajmiła mi z rozradowaniem, że Saint-Loup spytał jej, czy nie chce, aby ją przed swoim wyjazdem z Balbec sfotografował, kiedym ujrzał, że włożyła w tym celu najpiękniejszą suknię i wahała się między różnymi sposobami uczesania, czułem się nieco podrażniony dzieciństwem, które mnie tak w niej zdziwiło. Aż wreszcie pytałem sam siebie, czym się nie pomylił co do babki, czym jej nie stawał zbyt wysoko, czy ona jest równie obojętna na wszystko dotyczące jej osoby, jak to zawsze przypuszczałem, czy nie ma w niej tego, com uważał za najbardziej jej obce, kokieterii?

Na nieszczęście, niezadowolenie, jakie we mnie budził projekt fotografii, a zwłaszcza widoczna radość babki z tego projektu, przejawilo się na tyle, aby Franciszka je odgadła; i mimo woli pogłębiła je sentymentalnymi i rozczulonymi gawędami, wobec których zachowałem się tym chłodniej.

— Och, proszę panicza, ta kochana pani będzie taka szczęśliwa, że się będzie *portretować* i że nawet włoży ten kapelusz, który stara Franciszka jej przystroiła, trzeba jej pozwolić, paniczu.

Przekonałem sam siebie, że nie jestem okrutny, drwiąc sobie z czułościowości Franciszki, przypominałem sobie bowiem, że matka i babka, moje wzory we wszystkim, też to nieraz czyniły. Ale babka, widząc moją kwaśną minę, oznajmiła, że o ile to pozowanie ma mi sprawić przykrość, wyrzeknie się go. Nie zgodziłem się; upewniłem ją, że nie widzę w tym nic złego i pozwoliłem jej stroić się, ale sądziłem, że dam dowód przenikliwości i inteligencji, celując w nią parę ironicznym i dotkliwym słówek, mających zneutralizować przyjemność, jaką widocznie znajdowała w tej fotografii. Tak iż, o ile mnie podrażnił widok wspaniałego kapelusza babki, udało mi się bodaj spędzić z jej twarzy ten radosny wyraz, który powinien był mnie uszczęśliwić i który — jak się to zdarza zbyt często, póki jeszcze żyją najukochańsze nam istoty — wydaje się nam raczej drażniącym objawem lichej wady niż szacowną formą szczęścia, jakiego tak pragnęlibyśmy dla nich. Mój zły humor płynął zwłaszcza stąd, że owego tygodnia babka jak gdyby unikała mnie, tak że nie mogłem jej mieć bodaj chwilę dla siebie ani w dzień, ani wieczorem. Kiedym wracał po południu, aby być z nią trochę sam, powiadano mi, że jej nie ma; albo zamykała się z Franciszką na długie narady, których nie wolno mi było zamącić. I kiedy, spędziwszy wieczór poza domem z Robertem, wracając, myślałem o chwili, gdy będę mógł ujrzeć i uściskać babkę, darmo czekałem na te lekkie pukania w ścianę, wzywające mnie, abym jej przyszedł powiedzieć dobranoc; nie słyszałem nic. Kładłem się w końcu, mając do niej trochę żalu, że mnie pozbawia, z obojętnością tak nową z jej strony, radości, na którą tak liczyłem. Jeszcze przez jakiś czas czekałem z sercem bijącym jak w dzieciństwie, słuchając ściany, która zostawała niema, i zasypiałem we łzach.

Tego dnia, jak i w poprzednie dni, Saint-Loup musiał jechać do Doncières, gdzie, zanim miał wrócić na dobre, zatrzymywano go teraz zawsze do wieczora. Żałowałem, że go nie ma w Balbec. Widziałem młode kobiety wysiadające z powozów, jedne wchodziły do sali balowej kasyna, inne do cukierni; z daleka wydawały mi się czarujące. Byłem w owej fazie młodości, kiedy serce, niezajęte specjalnie nikim, jak gdyby czeka; kiedy się wszędzie — niby kochanek pożądaną kobiety — pragnie Piękności, szuka się jej, widzi się ją. Niech jakiś rys realny — jakiś szczegół kobiety oglądanej z daleka lub obróconej plecami — pozwoli nam wywołać Piękność przed naszymi oczami, już sobie wyobrażamy, żeśmy ją odkryli, serce nam bije, przyspieszamy kroku i zostaniemy na zawsze wół przekonani, że to była ona, byleby znikła: jedynie wówczas gdy ją możemy dogonić, pojmujemy swój błąd.

Zresztą czując się coraz bardziej cierpiący, skłonny byłem przeceniać najprostsze przyjemności przez trudność, z jaką mi przychodziło ich osiągnąć. Zdawało mi się, że wszędzie widzę eleganckie kobiety, bo byłem zbyt zmęczony, o ile to było na plaży, zbyt nieśmiały, o ile to było w kasynie lub w cukierni, aby się do nich zbliżyć. Jednakże jeżeli miałem rychło umrzeć, byłbym rad wiedzieć, czym są z bliska, w rzeczywistości, najładniejsze dziewczęta, jakie życie może ofiarować, gdyby nawet ktoś inny niż ja lub nawet nikt nie miał skorzystać z tej ofiary (nie zdawałem sobie w istocie sprawy, że zawiązkiem mojej ciekawości była chęć posiadania). Byłbym się odważył wejść na salę balową, gdyby Saint-Loup był ze mną. Sam, stałem po prostu przed Grand Hotelem, czekając chwili, gdy pójde spotkać się z babką, kiedy ujrzałem zbliżających się kilka dziewcząt, jeszcze prawie na krańcu drogi, gdzie tworzyły osobliwą i ruchomą plamę; równie odmiennym wyglądem i wzięciem od wszystkich osób, jakie przywykłem oglądać w Balbec, jak mogłoby być przybyłe nie wiadomo skąd stado mew, gdy drepcąc po plaży — przy czym zapóźnione doganiają, podfruwając, poprzednie — odbywają swoją przechadzkę o celu

równie zagadkowym dla letników, których ptaki zdają się nie widzieć, jak jasno określonym dla ich ptasiego umysłu.

Jedna z tych nieznanym prowadziła rower; dwie inne trzymały kluby do golfa, a strój ich odcinał się od stroju innych dziewcząt w Balbec, również może oddających się po trosze sportom, ale bez specjalnego w tym celu kostiumu.

Była to godzina, gdy panie i panowie odbywali codziennie spacer po promenadzie, wystawieni na nielitościwe ognie *face à main*, jakie kierowała na nich (tak jakby mieli jakąś skazę, którą pragnęła wystudiować w najmniejszych szczegółach) żona prezydenta, dumnie siedząca przed kioskiem dla muzyki, pośród tego groźnego rzędu krzesel, gdzie za chwilę oni sami, z aktorów stając się krytykami, mieli się usadowić, aby sądzić z kolei wszystkich defilujących przed nimi. Szli po promenadzie, kołysząc się tak silnie, jak gdyby się znajdowali na pokładzie statku; nie umieli podnieść nogi, aby równocześnie nie poruszyć ramieniem, nie obrócić oczu, nie poprawić ramion, nie skompensować każdego ruchu wahadłowym ruchem w przeciwną stronę i nie czerwienić na twarzy. Udawali, że nikogo nie widzą, aby sprawić wrażenie, że się nie troszczą o osoby idące obok nich lub w przeciwnym kierunku; ale bacząc ukradkiem, aby ich nie potrącić, zderzali się właśnie z nimi, zahaczali się o nie, ponieważ byli nawzajem z ich strony przedmiotem tej samej tajemnej uwagi, ukrytej pod tą samą pozorną obojętnością; ile że miłość — tym samym lęk — tłumy jest jedną z najpotężniejszych sprężyn u wszystkich ludzi, czy starają się podobać innym lub zadziwić ich, czy też pragną pokazać, że nimi gardzą. U samotnika zamknięcie, nawet absolutne i trwające do końca życia, ma za pobudkę nadmierną miłość tłumy, tak bardzo górującą nad innym uczuciem, że gdy nie może, wychodząc z domu, uzyskać podziwu odzwierne, przechodniów, woźnicy, woli nie być nigdy przez nich ujrzanym i wyrzeka się wszelkiego działania, które by mu kazało opuszczać pokój.

Pośród wszystkich tych ludzi, z których ten i ów ściagał jakąś myśl, ale wówczas zdradzał jej wahania niepokojem gestów, spojrzeń, równie mało harmonijnych jak oględne chybotanie się sąsiadów, dziewczęta, które zauważyłem, szły prosto przed siebie, z opanowaniem gestów, jakie daje doskonale wyćwiczenie ciała i szczerą pogardą dla reszty ludzkości. Szły przed siebie bez wahań i bez zakłopotania, wykonując ściśle te ruchy, jakie chciały, przy pełnej niezawisłości każdego z członków, przy czym korpus zachowywał ową nieruchomość, tak znamienne dla osób dobrze tańczących walca. Były już blisko mnie. Mimo iż każda z nich miała typ absolutnie różny od innych, wszystkie były piękne; co prawda widziałem je od tak niedawna i nie śmiejąc się im przyglądać, że nie zindywidualizowałem jeszcze żadnej. Z wyjątkiem jednej, której prosty nos i ciemna skóra odcinały się od innych — niby na jakimś renesansowym obrazie jeden z Trzech Królów rodem z Arabii — pochwyliłem w jednej z nich jedynie parę oczu twardych, upartych i roześmianych; w drugiej tylko policzki, których różowość miała miedziany ton przywołujący na myśl geranię; a nawet i tych rysów nie zlokalizowałem jeszcze niezawodnie w żadnej z dziewcząt; i kiedy (wedle porządku, w jakim się rozwijał ten zespół — cudowny, bo w nim sąsiadowały najrozmaitsze kształty, spotykały się wszystkie gamy kolorów, ale mętny jak muzyka, w której nie umiałbym wyosobnić i rozpoznać, w miarę ich zjawiania się, fraz pochwyconych, ale zapomnianych w chwilę potem) widziałem wynurzający się biały owal, oczy czarne, oczy zielone, nie wiedziałem, czy to są te same, które już na mnie wionęły czarem przed chwilą, nie mogłem ich odnieść do jakiejś określonej młodej dziewczyny, którą bym oddzielił od innych i rozpoznał. I ten brak granic w mojej wizji — granic, które niebawem miałem między nimi ustalić — kołysał grupę jakimś harmonijnym falowaniem, nieustanną transmisją płynnej, zbiorowej i ruchomej piękności.

Może nie sam przypadek skupił te przyjaciółki i dobrał je, wszystkie tak piękne; może te dziewczęta (których postawa wystarczała, aby zdradzić natury śmiałe, płuche i twarde), nader wrażliwe na wszelką śmieszność i brzydotę, odporne powabom kategorii intelektualnej lub moralnej, uczuły, pośród swoich rówieśnic, odrazę do wszystkich tych, których myśląca lub wrażliwa natura wyrażała się nieśmiałością, skrępowaniem, niezręcznością. Wszystko to określiły zapewne jako „antypatyczny fason” i odsunęły się od tego typu; zaprzyjaźniły się w zamian z innymi, do których ciągnęło je jakieś zespolenie wdzięku, zwinności i elegancji fizycznej, jedyna forma, pod jaką mogły sobie wyobrazić swobodę miłego charakteru i wróżbę pędzonych wspólnie przyjemnych godzin. Może i sfera, do

Tłum, Obyczaje

Samotnik

której należały, a której nie umiałem określić, znajdowała się w tym punkcie ewolucji, w którym, bądź dzięki zamożności i wywczasom, bądź dzięki nowoczesnym nawykom sportu (szerzącym się nawet w pewnych kołach ludowych) oraz kultury fizycznej, niełączącej się jeszcze z kulturą umysłową, środowisko społeczne, podobne harmonijnym i płodnym szkołom rzeźby, nieszukającym jeszcze skomplikowanego wyrazu, wydaje obficie i naturalnie piękne ciała o pięknych nogach, o pięknych biodrach, o zdrowych i wypoczętych twarzach, ruchliwych i sprytnych. I czyż to nie były szlachetne i spokojne wzory ludzkiej piękności, które widziałem przed sobą w obliczu morza niby posągi wystawione na słońce kędyś na greckim wybrzeżu?

Widocznie ta gromadka, posuwająca się wzdłuż promenady niby świetlna kometa, osądziła, iż otaczający ją tłum składa się z istot innej rasy, tak że nawet jego cierpienie nie byłoby w nich zdolne obudzić poczucia solidarności, bo nie widziały po prostu tego tłumy. Zmuszały przystające osoby do usunięcia się na bok, niby przy przejściu wypuszczonej maszyny, po której nie ma co oczekiwać, aby mijala pieszych. Co najwyżej, kiedy jakiś starszy pan, którego istnienie ignorowały i którego dotknięcie odpychały od siebie, uciekł z nagłymi lub śmiesznymi gestami przestachu lub wściekłości, one spoglądały po sobie ze śmiechem. Nie popisywały się wzgardą dla wszystkiego, co nie było z ich grupy; wystarczała szczerota tej wzgardy. Ale wszelka dojrzana przeszkoda rodziła w nich radośną chętkę przebycia jej, z rozpędem lub równymi nogami, bo wszystkie były spęczniałe i kipiące młodością. Ta młodość tak bardzo potrzebuje się wyżyć, nawet kiedy jest smutna lub cierpiąca, że ulegając raczej konieczności wieku niż doraźnemu humorowi, nie przepuszcza żadnej sposobności do skoku lub glisady<sup>56</sup>, wyzyskuje ją sumiennie, przerywając i strojąc swój wolny krok — niby Chopin najbardziej melancholijną frazę — uroczymi arabeskami, w których kaprys miesza się z mistrzostwem.

Zona starego bankiera, dobierając dla męża rozmaitych miejsc, usadowiła go na leżaku, na wprost promenady, gdzie od wiatru i słońca chronił go kiosk dla muzyki. Zainstalowawszy tak męża, opuściła go na chwilę, aby pójść kupić dziennik, który miała mu czytać dla rozrywki. Chwil, w których zostawiała go samego, nie przeciągała nigdy ponad pięć minut, co jej się zdawało dość długo; czyniła to na tyle często, aby stary mąż, nad którym rozrzucała opiekę, maskując ją zarazem, miał wrażenie, że jest jeszcze zdolny żyć jak wszyscy i że nie potrzebuje dozoru. Trybuna orkiestry tworzyła nad nim naturalną i kuszącą trampolinę, przez którą bez wahania najstarsza z małej bandy puściła się pędem; skoczyła ponad przerażonego starca, którego kaszkiet musnęły zwinne nogi, ku wielkiej zabawie reszty dziewcząt. Zwłaszcza para zielonych oczu w twarzyczce lalki wyraziła podziw dla tego aktu i wesołość, w których próbowałem rozróżnić nieco lęklivości, lęklivości wstydlivej zarazem i aroganckiej, nieistniejącej u innych. „Żal mi tego starego, wygląda, jakby już miał odwalić kite” — rzekła w pół ironicznie jedna z dziewcząt schryplym, jakby przepitym głosem. Zrobiły jeszcze kilka kroków, potem zatrzymały się chwilę wśród drogi, nie troszcząc się o to, że utrudniają krążenie przechodniów, czyniąc naradę, tworząc skupienie o nieregularnym kształcie, zwarte, niezwykle i krzykliwe, niby ptaki zbierające się w chwili odlotu; po czym podjęły wolną przechadzkę wzdłuż promenady nad morzem.

Obecnie ich urocze rysy nie były już zmieszane z sobą, niepodobne do rozróżnienia. Rozdzieliłem je i skupiłem (w braku imion, których nie znałem) dokoła największej, tej, co skoczyła przez starego bankiera; i małej, której pizate i różowe policzki i zielone oczy odcinały się na horyzoncie morza; i trzeciej, o smagłej cerze, prostym nosku, wyróżniającej się wśród innych; dokoła jeszcze innej, o twarzy białej jak jajko, na której mały nosek garbił się niby dzióbek kurczęcia, twarzy takiej, jaką miewają niektórzy bardzo młodzi chłopcy; innej wreszcie, dużej, okrytej peleryną (co dawało wygląd tak ubogi i tak przeczący jej eleganckiemu wzięciu, iż nastroczała się myśl, że ta młoda dziewczyna musi mieć rodziców na tyle świetnych i mieszczących swoje ambicje o tyle wyżej letników w Balbec oraz toaletowego wykwinu własnych dzieci, aby im było zupełnie obojętne puszczać je na promenadę w stroju, który „szarym ludziom” wydałby się zbyt skromny); dokoła wreszcie dziewczynki o błyszczących i roześmianych oczach, o pulchnych matowych

<sup>56</sup>glisada — tu: ślizg; w lotnictwie: figura akrobacji, zejście lotem ślizgowym nisko nad ziemię. [przypis edytorski]

policzkach pod czarnym „polo” na głowie. Ta, kiedy przechodził koło niej, popychała rower z tak niedbałym kołysaniem bioder, z miną i gwarą pełną tak apaszowskich i krzykliwych zwrotów (wśród których pochwyliłem nieszczęsne: „wyżyć się”), iż porzucając hipotezę zbudowaną na pelerynie jej towarzyszy, uznałem raczej, że wszystkie te dziewczęta należą do stałej klienteli welodromów i że to muszą być bardzo młode kochanki zawodowych cyklistów.

W każdym razie w żadnym z moich przypuszczeń nie figurowało to, aby te dziewczęta mogły być cnotliwe. Od pierwszego spojrzenia — w sposobie, w jaki patrzyły na siebie, w natarczywym wzroku owej dziewczyny o matowych policzkach — wyczytałem, iż jest przeciwnie. Zresztą babka czuwała zawsze nade mną z nazbyt trwożliwą delikatnością, abym mógł nie wierzyć, iż całość rzeczy, których nie powinno się robić, jest niepodzielna. Młode dziewczęta (sądziłem), które chybiają szacunku starości, tym bardziej muszą być niezdolne do skrupułów, gdy chodzi o słodczye bardziej kuszące niż skok przez głowę osiemdziesięciolatka!

Teraz były dla mnie zindywidualizowane; jednakże rozmowa, jaką wiodły oczami ożywionymi pewnością siebie i koleżeństwem, zdradzającymi co chwilę to współdział, to zuchwałą obojętność, zależnie od tego, czy chodziło o którąś z przyjaciółek czy o przechodniów, a także tę świadomość, że się wszystkie znają na tyle dobrze, aby się przechadzać wciąż razem, oddzielną „bandą”, stwarzała między ich niezależnymi i oddzielnymi ciałami, gdy się tak posuwały z wolna, łączność niewidzialną, ale harmonijną niby wspólny ciepły cień, wspólna atmosfera, czyniąca z nich całość równie jednolitą w jej częściach, jak różną od tłumu, pośród którego rozwijał się z wolna ich orszak.

Mijając brunetkę o pulchnych policzkach popychającą rower, skrzyżowałem na chwilę wzrok z jej skośnymi i roześmianymi spojrzeniami, strzelającymi z głębi nieludzkiego świata, który zamykał życie tego małego klanu, niedostępnego, nieznanego, gdzie myśl o moim istnieniu nie mogła z pewnością ani dotrzeć, ani znaleźć miejsca. Czy ta młoda dziewczyna w polo bardzo nisko schodzącym na czoło, pochłonięta szczebiotem koleżanek, spostrzegła mnie w chwili, gdy mnie spotkał czarny promień tryskający z jej oczu? Jeżeli mnie widziała, co mogłem dla niej przedstawiać? Z łona jakiego wszechświata zauważyła mnie? Byłoby mi równie trudno odpowiedzieć na to, jak trudno jest, z pewnych szczegółów spostrzeżonych dzięki teleskopowi na sąsiedniej planecie wyciągnąć wniosek, że tam mieszkają ludzie, że nas widzą, i orzec, jakie myśli ten widok mógł w nich obudzić.

Gdybyśmy myśleli, że oczy danej dziewczyny są jedynie błyszczącym krążkiem miki, nie pragnęlibyśmy jej poznać ani zespolić się z jej życiem. Ale czujemy, że to, co błyszczący w tym krągłym zwierciadle nie jest wyłącznie materialnego pochodzenia; że to są nieznanne nam, czarne cienie idei, jakie ta istota tworzy sobie o osobach i o znanych jej miejscach — trawnikach hipodromów, piaszczystych drogach, po których, poruszając pedały, poprzez pola i lasy, wodziłaby mnie ta mała peri, powabniejsza dla mnie niż owa z perskiego rajy — także cienie domu, do którego wróci, projektów, jakie tworzy lub jakie ktoś tworzy za nią; a zwłaszcza że to jest ona, z jej pragnieniami, sympatiami, niechęciami, z jej tajemną i nieustanną wolą. Wiedziałem, że nie posiadałbym tej młodej cyklistki, o ile nie posiadałbym i tego, co jest w jej oczach. I tym samym całe jej życie wzniecało moje pragnienie; pragnienie bolesne, bom czuł, że jest nieziszczalne; ale upajające, gdyż to, czym było dotąd moje życie, przestawszy nagle być moim całkowitym życiem, będąc już tylko małą cząstką rozciągającej się przede mną przestrzeni, którą pragnąłem ogarnąć, a która była życiem tych dziewcząt, przyrzekało mi to przedłużenie, tę możliwość pomnożenia samego siebie, które jest szczęściem. I bez wątplenia to, że nie było między nami żadnego wspólnego nawyku — jak i żadnej wspólnej myśli — musiało mi utrudniać zbliżenie się z nimi i spodobanie się im. Ale może też dzięki tym różnicom, dzięki świadomości, że w skład natury i działań tych dziewcząt nie wchodzi żaden element, który bym znał i posiadał, po sytości następowało u mnie pragnienie — podobne temu, jakim plonie wyschnięta ziemia — pragnienie życia, które moja dusza, dlatego że go nie otrzymała dotąd ani kropelki, wchłonyłaby tym chciwiej, wielkimi haustami, z tym doskonałym nasyceciem.

Tak długo patrzałem na cyklistkę o błyszczących oczach, że musiała to spostrzec i rzekła do największej z dziewcząt coś, czegom nie dosłyszał, ale co rozśmieszyło tamtą. Prawdę mówiąc, nie ta brunetka podobała mi się najwięcej, właśnie dlatego że była brunetką

Wzrok

i że (od dnia, gdy na ścieżce w Tansonville ujrzał Gilbertę) ruda dziewczynka o złocistej skórze stała mi się niedostępnym ideałem. Ale samą Gilbertę czyż nie dlatego pokochałem, że mi się zjawiała strojna aureolą przyjaciółki Bergotte'a, zwiedzającej z nim katedry! I tak samo czyż nie mogło mnie ucieszyć, że ta brunetka popatrzyła na mnie (co budziło we mnie nadzieję, iż łatwiej mi będzie zapoznać się najpierw z nią), bo przedstawił mi inną, tej bezlitosnej, co przeskoczyła starca, i okrutnej, co powiedziała: „Żał mi tego starego”, kolejno wszystkim, których nierozłączne towarzystwo mnożyło jej urok. A jednak przypuszczenie, że mógłbym być pewnego dnia przyjacielem jednej z tych dziewcząt, że te oczy, których nieznane spojrzenia uderzały mnie chwilami, igrając po mnie bezwiednie niby promień słońca na murze, mogłyby kiedy mocą cudownej alchemii przepuścić przez swoje niewysłowione cząsteczki ideę mego istnienia, jakąś sympatię dla mojej osoby, że ja sam mógłbym kiedyś zająć miejsce pośród nich, w orszaku, którym ciągnęły wzdłuż morza — ta myśl zdawała się mieścić w sobie sprzeczność równie nierozwiązalną, co gdybym przed jakimś starożytnym fryzem lub freskiem wyobrażającym pochod uważał za możliwe, ja, widząc, zająć miejsce między boskimi celebrantkami jako ich kochanek.

Szczęście poznania tych dziewcząt było tedy nieziszczalne. Zapewne nie byłoby to pierwsze tego rodzaju szczęście, jakiego bym się wyrzekł. Wystarczyło mi przypomnieć sobie tylko tyle nieznajomych, które, nawet w Balbec, kazał mi opuścić na zawsze pędem oddalający się powóz. A nawet przyjemność, jaką mi dawała gromadka tak szlachetna jak gdyby się składała z helleńskich dziewic, pochodziła stąd, że miała coś z pierzchania owych mijanych na drodze postaci. Owa ulotność istot nieznajomych nam, wyrrywających nas z potocznego życia, w którym znajome kobiety odsłaniają nam w końcu swoje skazy, wprawia nas w ów stan pogoni, gdzie nic nie wstrzymuje już wyobraźni. Otóż odrzec nasze przyjemności z wyobraźni, znaczy sprowadzić je do nich samych, do niczego. Ofiarowane przez jedną z owych stręczycielek, którymi zresztą, jak czytelnik widział, nie gardziłem, wyrwane z elementu dającego im tyle odcieni i tyle tajemnicy, dziewczęta te byłyby mnie mniej oczarowały. Trzeba, aby wyobraźnia, pobudzona niepewnością, stworzyła cel, który by nam zasłaniał tamten cel i który, zastępując zmysłową rozkosz ideą wniknięcia w czyjeś życie, nie dozwoliłby nam rozpoznać owej rozkoszy, doświadczyć jej prawdziwego smaku, uszczuplić jej do istotnych wymiarów.

Ryba, podana nam od razu na stół, nie zdałaby się nam warta tysiąca sztuczek i postępów obróconych na to, aby ją pochwycić; trzeba, aby między nią a nas, w chwili gdy czatujemy z wędką bez określonego praktycznego celu, wdarł się prąd, w którym miga nam gładkość tkanek, nieuchwytność kształtów, w płynności przejrzystego i ruchomego lazuru.

Dziewczęta te korzystały również z owej zmiany proporcji socjalnych, znamienych dla kąpieliska. Wszystkie przewagi, które w zwykłym naszym środowisku przedłużają nas niejako, powiększają nas, tam stają się niewidoczne, znikają; w zamian za to istoty, którym niezasłużenie przypisuje się owe przewagi, zjawiają się powiększone do sztucznych wymiarów. Dzięki temu osoby nieznajome — w danym dniu owe młode dziewczyny — tym łatwiej przybierały w moich oczach olbrzymią ważność; ja zaś nie miałem żadnego sposobu dowiedzenia im swojej ważności.

Ale jeżeli spacer małej gromadki czerpał urok w tym, że był jedynie cząstką niezliczonego przepływu mijających mnie kobiet, który mnie zawsze wzruszał, przepływ ten sprowadzał się tutaj do ruchu tak powolnego, że bliski był bezruchu. Otóż to, że w tempie tak powolnym, twarze nieunoszone już pędem, ale spokojne i wyraźne, zdawały mi się jeszcze piękne, właśnie to nie pozwalało mi sądzić (jak sądziłem często, gdy mnie unosił powóz pani de Villeparisis), że z bliska, gdybym się zatrzymał na chwilę, jakieś przykre szczegóły, wątpliwa cera, skaza w wycięciu nozdrzy, tępe spojrzenie, niemile uśmiech, brzydka figura, zastąpiłyby na twarzy i w ciele kobiety rysy, które sobie zapewne wyroiłem; wystarczyło bowiem dojranej przeze mnie ładnej linii lub świeżej cery, abym w najlepszej wierze przydał im jakieś urocze ramię, jakieś rozkoszne spojrzenie, któremu zawsze nosił w sobie pamięć lub przecucie; i takie błyskawiczne odczytywanie osób widzianych w przelocie naraża nas wówczas na te same błędy, co nazbyt pospieszna lektura, gdy z jednej sylaby, nie zadając sobie trudu utożsamienia innych, w miejsce słowa napisanego wstawiamy całkiem inne, podsunięte nam przez pamięć.

W tym wypadku było to niemożliwe. Przypatrzyłem się dobrze twarzom tych dziewcząt; każdą z nich widziałem nie ze wszystkich profilów, a rzadko *en face*, ale zawsze z dwóch lub trzech perspektyw na tyle odmiennych, abym mógł uzyskać bądź sprostowanie, bądź potwierdzenie i „dowód” rozmaitych domysłów linii i barw, zaryzykowanych na pierwszy rzut oka i abym widział coś niezmiennie materialnego, trwającego w nich poprzez kolejne wyrazy. Toteż mogłem sobie rzec z całą pewnością, że ani w Paryżu, ani w Balbec, w najkorzystniejszych hipotezach tego, czym mogłyby być (nawet gdybym się zdołał do nich zbliżyć) nieznanymi, które zatrzymały moje oczy, ujrzenie a potem zniknięcie żadnej z nich nie zostawiłoby we mnie więcej żalu, niżby go zostawiły te dziewczęta, wraz z myślą, że ich przyjaźń mogłaby być takim upojeniem! Ani wśród aktorek, ani wśród wieśniaczek, ani wśród wychowanic klasztoru, nie widziałem nic tak pięknego, nasyconego Nieznanym, bezcennego, tak prawdopodobnie niedostępnego. Były one tak rozkosznym i pełnym egzemplarzem nieznanego i możebnego szczęścia, że nieomal z intelektualnych pobudek byłem w rozpaczy, bojąc się, iż nie zdołam — w warunkach jedynych, nie zostawiających miejsca dla możliwego błędu — doświadczyć tego, co nam najbardziej tajemniczego ofiarowuje upragniona piękność. Nazbyt często trzeba nam się pocieszyć, że jej nie będziemy posiadali nigdy, żądając rozkoszy — czego Swann zawsze wzdragał się uczynić, przed Odetą — od kobiet, których nie pragnęliśmy, tak że umieramy, nie poznawszy, czym była owa inna rozkosz. Bez wątpienia, może owa rozkosz nie byłaby w rzeczywistości rozkoszą nieznaną; może z bliska tajemnica jej rozproszyłaby się, może byłaby jedynie projekcją, mirażem żądy. Ale w takim razie mógłbym mieć pretensję jedynie do prawa natury — które, gdyby się stosowało do tych dziewcząt, stosowałoby się do wszystkich — nie zaś do skaz samego przedmiotu. Bo to był przedmiot, który byłbym wybrał między wszystkimi, zdając sobie dobrze sprawę, z satysfakcją botanika, że niepodobna by znaleźć zebranych razem gatunków rzadszych niż te młode kwiaty, przerywające w tej chwili przede mną linię fal swoim lekkim żywopłotem, podobnym do gaiku pensylwańskich róż, strojących ogród na skale, między którymi mieści się cała przestrzeń oceanu przebywana przez jakiś parowiec, tak wolno ślizgający się po poziomej i błękitnej kresce idącej od jednej łodygi do drugiej, że leniwy motyl zapóźniony w głębi kielicha, który kadłub statku minął od dawna, może — aby wzlecieć z tą pewnością, że przybędzie wcześniej — czekać, by tylko jedna cząsteczka lazuru dzieliła jeszcze dziób statku od najbliższego kwiatu, ku któremu okręt płynie.

Wróciłem, bo miałem jechać do Rivebde na obiad z Robertem, babka zaś żądała, abym się w taki dzień zawsze wyciągnął wprzód przez godzinę na łóżku, którą to sjęstę miejscowy lekarz zalecił mi niebawem rozszerzyć i na inne wieczory.

Zresztą, aby wrócić do hotelu, nie było nawet trzeba skręcać z promenady i wchodzić przez hall, to znaczy od tyłu. Czas przesunął się, podobny owym sobotom w Combray, kiedy śniadanie było o godzinę wcześniej. Teraz, w pełni lata, dni zrobiły się tak długie, że słońce było jeszcze wysoko na niebie, niby w porze podwieczorku, a już nakrywano w Grand Hotelu do obiadu. Toteż wielkie oszklone i zasuwane okna pozostawały otwarte na poziomie promenady. Wystarczyło okroczyć wąską drewnianą ramę, aby się znaleźć w jadalni, którą zaraz opuszczałem, aby wsiąść do windy.

Przechodząc koło biura, przesyłałem uśmiech dyrektorowi i bez cienia niesmaku witałem również uśmiech na jego twarzy, którą od czasu pobytu w Balbec moje wtajemniczenie nastrzykiwało i przeobrażało stopniowo niby preparat historii naturalnej. Rysy jego stały mi się znane, naładowane sensem pospolitym, ale zrozumiałym jak czytelne pismo, w niczym już niepodobne do dziwnego i nużącego pisma z owego pierwszego dnia, kiedy ujrzał przed sobą zapomnianą teraz osobistość. Zaledwie mogłem wywołać ją w swojej pamięci, tym mniej zidentyfikować ją z banalnym i uprzejmym osobnikiem, którego była jedynie wstrętą i pobieżną karykaturą. Bez lęków i smutku pierwszego wieczora zadzwoniłem na *liftboy'a*, który już nie stał milczący, gdym się z nim wznosił w windzie, niby w ruchomej klatce piersiowej przesuwającej się wzdłuż kręgosłupa, ale powtarzał mi:

— Już nie ma tyle ludzi, co przed miesiącem. Zaczną wyjeżdżać, dzień robi się krótszy.

Mówił tak nie dlatego, by to była prawda, ale że zgodziwszy się już do cieplejszej miejscowości na wybrzeżu, pragnął, abyśmy wszyscy wyjechali jak najwcześniej, tak aby hotel zamknięto i aby on miał kilka dni wolnych, zanim rozpocznie nową służbę. Uderzyło

Sługa, Obyczaj, Praca

mnie, że on zechciał powiedzieć „służba”; bo należał do tego nowoczesnego proletariatu, który pragnie zatrzeć w języku ślady służebności. Zresztą za chwilę powiadomił mnie, że na „posadzie” którą „obejmie”, będzie miał ładniejszy „uniform”, i lepsze „uposażenie”; słowo „liberia” i „zasługi” wydawały mu się przestarzałe i niewłaściwe. Że zaś przez nie-dorzeczną sprzeczność dawny słownik przetrwał mimo wszystko u „państwa” dłużej niż pojęcie nierówności, nigdy nie mogłem dobrze zrozumieć, co mi mówił „lift”. Jedyną rzeczą, jaka mnie interesowała, było to, czy babka jest w domu. Otóż uprzedzając moje pytanie, powiedział:

— Ta pani właśnie wyszła od pana.

Zawsze się na to brałem, myślałem, że mówi o babce.

— Nie, ta pani, która jest zdaje mi się funkcjonariuszką u państwa.

Ponieważ w dawnym mieszczańskim języku, który powinien być zniesiony, kucharka nie nazywa się funkcjonariuszką, myślałem chwilę: „Ależ on się myli, nie mamy fabryki, biura, ani funkcjonariuszy”... Naraz przypomniałem sobie, że słowo „funkcjonariusz” jest, jak prawo do wąsów u kelnerów, satysfakcją miłości własnej daną służbie i że ta „dama, która właśnie wyszła”, to była Franciszka (poszła prawdopodobnie z wizytą do kawiarki lub asystować przy szyciu pokojówce belgijskiej damy). Satysfakcja ta nie wystarczała jeszcze *lift-boyowi*, mówił bowiem często, rozczulając się nad swoją klasą, „u robotnika” albo „u prostego człowieka”, posługując się tą samą liczbą pojedynczą co Racine, kiedy powiada: „ubogi”... Ale zazwyczaj nie rozmawiałem z chłopcem od windy — ile że moja początkowa gorliwość i nieśmiałość dawno minęły. To on teraz nie dostawał odpowiedzi w czasie krótkiej drogi, której węzły przebywał poprzez wycinany jak zabawka hotel, ukazujący nam piętro po piętrze rozgałęzienia korytarzy, w których głębi światło aksamitniało, bladło, zwężało drzwi lub stopnie wewnętrznych schodów, zmieniając je w ów złocisty bursztyn, nieuchwytny i tajemniczy niby zmierzch, w którym Rembrandt wycina ramę okna lub korbę u studni. I na każdym piętrze złoty blask odbijający się na dywanie oznajmiał zachód słońca i okno klozetu.

Zastanawiałem się, czy dziewczęta, które dopiero co widziałem, mieszkają w Balbec i kto by to mógł być. Kiedy pragnienie skieruje się tak ku małej gromadce ludzkiej, którą wyróżni, wszystko, co się z nią może łączyć, staje się przedmiotem wzruszenia, potem marzeń. Słyszałem, jak jakaś dama mówiła na plaży: „To przyjaciółka małej Simonet”, tonem zadowolonej z siebie precyzji, jak ktoś, kto tłumaczy: „To nieodłączny towarzysz małego La Rochefoucauld”. I natychmiast na twarzy tak informowanej osoby czuło się chęć lepszego przyjrzenia się szczęśliwej istocie, będącej „przyjaciółką małej Simonet”. Musiał to być przywilej, niedany całemu światu. Bo arystokracja jest rzeczą względną. I bywają tanie, pokątne kąpieliska, gdzie syn handlarza mebli jest królem elegancji i panuje nad swoim dworem niby młody książę Walii.

Często starałem się później przypomnieć sobie, w jaki sposób zabrzmiało mi na plaży to nazwisko *Simonet*, jeszcze niepewne dla mnie wówczas co do formy, a także co do treści, co do jego przynależności do tej lub innej osoby; w sumie nacechowane ową mglistą nowością, tak wzruszającą nas później, kiedy to nazwisko, którego litery ryją się w nas z każdą sekundą głębiej dzięki naszej nieustającej uwadze, stało się (co miało się zdarzyć u mnie, w stosunku do młodej Simonet, aż w kilka lat później) pierwszym wyrazem, jaki odnajdujemy czy to w chwili przebudzenia się, czy ocknąwszy się z omdlenia, nawet przed świadomością godziny, miejsca, gdzie się znajdujemy, prawie przed słowem „ja”; jak gdyby istota, którą ono oznacza, była bardziej nami niż my sami i jakby po paru chwilach nieświadomości czas, gdy nie myśleliśmy o niej, był niby rozejm wygasający przed każdym innym. Od pierwszego dnia powiedziałem sobie — nie wiem czemu — że *Simonet* musi być nazwiskiem jednej z tych dziewcząt, i bez przerwy zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym się zapoznać z rodziną Simonet; i to przez ludzi, których by uważała za coś lepszego od siebie — co nie musiało być trudne, o ile to były tylko zwykłe podfruwajki. Chodziło mi przede wszystkim o to, by ona nie mogła powziąć o mnie lekceważącego pojęcia. Bo nie można dobrze poznać, nie można dokonać całkowitej absorpcji istoty, która nami gardzi, dopóki się nie pokona tej wzdarty. Otóż za każdym razem, kiedy w nas wnika obraz tak różnych kobiet, o ile go nie usunie zapomnienie lub natłok innych obrazów, nie mamy spokoju, póki nie zmienimy tych obcych istot w coś, co by było podobne do nas. Dusza nasza jest pod tym względem obdarzona tym samym rodzajem



reakcji i energii co organizm fizyczny, który nie może znieść obecności obcego ciała, ale natychmiast stara się strawić i przyswoić sobie intruza. Młoda Simonet musiała być ową najładniejszą ze wszystkich, zarazem tą, która, zdawało mi się, mogłaby zostać moją kochanką, bo ona jedna parokrotnie obróciła nieco głowę, jak gdyby zauważyła moje uparte spojrzenie. Spytałem chłopca od windy, czy nie zna w Balbec jakich Simonet. Nie lubiąc przyznawać się, że czegoś nie wie, odpowiedział, iż zdaje mu się, że słyszał to nazwisko. Przybywszy na najwyższe piętro, poprosiłem go, aby mi przysłał ostatnią listę gości.

Wysiadłem z windy, ale zamiast iść do swego pokoju, zapuściłem się w korytarz, o tej godzinie bowiem, posługacz, mimo że się obawiał przeciągów, otworzył w końcu korytarza okno, wychodzące nie na morze, lecz na wzgórza i doliny; ale nie widziało się ich nigdy, matowe bowiem szyby były najczęściej zamknięte. Przystanąłem przed oknem na chwilę, tyle, aby odprawić dewocje przed „widokiem” pierwszy raz odsłaniającym mi się za pagórkami obok hotelu. Widok obejmował tylko dom położony w pewnej odległości; perspektywa i wieczorne światło, zachowując jego wymiary, ale przydając mu cenną cyzelaturę i jakby aksamitne pudro, czyniły zeń jakąś miniaturową budowlę, małą świątynkę lub kapliczkę ze złota i emalii, służącą za relikwiarz i pokazywaną jedynie w rzadkie dni pobożnym oczom. Ale ta chwila adoracji już trwała zbyt długo, bo posługacz, który trzymał w jednej ręce pęk kluczy, a drugą kłaniał mi się, dotykając swojej czapeczki zakrystiana (nie uchylał jej z powodu czystego i chłodnego wieczornego powietrza), zamknął okno niby skrzydła ołtarza i skrył mojej adoracji miniaturową budowlę i złotą relikwię.

Wszedłem do pokoju. W miarę jak sezon się posuwał, obraz, jaki znajdowałem w oknie zmieniał się. Zrazu był tam jasny dzień, ciemny jedynie w czasie niepogody; wówczas w ciemnozielonym szkle, wzdymanym krągłymi falami, morze, oprawne w żelazne ramy mojego okna niby w olów witraża, strzępiło na całej głębokiej, skalistej obwódce zatoki upierzone trójkąty nieruchomej piany, cieniowanej z delikatnością pierza lub puchu rysowanych przez Pisanella, i utrwalone ową białą emalią, niezmienną i pienistą, jaka wyobraża warstwę śniegu na szklach Gallégo.

Niebawem dnie stały się krótsze; w chwili gdy wchodziłem do pokoju, fioletowe niebo zdawało się napiętnowane sztywnym, geometrycznym, przejściowym, płomiennym kształtem słońca (podobnym do cudownego znaku, do jakiejś mistycznej zjawy), nachylało się ku morzu na zawiasach widnokregu niby święty obraz nad wielkim ołtarzem, gdy rozmaite części zachodu, wystawione w szybach niskich mahoniowych szaf bibliotecznym biegających wzdłuż ściany i wiążących się w mojej myśli z cudownym obrazem, od którego się oderwały, wyglądały niby rozmaite sceny, które jakiś stary mistrz wykonał niegdyś dla bractwa na relikwiarzu i których pojedyncze skrzydła wystawia się obok siebie w sali muzealnej, tak iż jedynie wyobraźnia zwiedzającego przywraca je na ich miejsca na nastawie ołtarza.

W kilka tygodni później, kiedym wracał do siebie, słońce już zaszło. Czerwona przepaska nieba podobna tej, jaką widywałem w Combray nad Kalwarią, wracając ze spaceru, kiedym się gotował zejść przed obiadem do kuchni — widniała nad morzem zwartym i ściętym niby auszpik z mięsa. A potem znów, nad morzem już zimnym i błękitnym jak ryba zwana *mulet*, niebo miało ten sam różowy kolor co łosoś, którego za chwilę każemy sobie podać w Rivebelle. Widoki te zaostrzały przyjemność, jaką mi sprawiało przebrać się po to, aby jechać na obiad. Nad morzem, tuż koło brzegu, dymy czarne jak sadza, ale o gładkości i konsystencji agatu, o ciężarze widzialnym oku, próbowały się wznosić, jedno nad drugie, coraz to szerszymi piętrami; tak iż najwyższe, zwisając ponad zniekształconą lodygą i wychylając się poza środek ciężkości tych, co je podtrzymywały dotąd, groziły ściągnięciem tego gmachu wznoszącego się już do połowy nieba i strąceniem go w morze. Widok okrętu, który się oddalał niby nocny podróźny, dawał mi to samo wrażenie, jakiegom doznał w wagonie: że jestem uwolniony od przymusu snu i od zamknięcia w pokoju. Zresztą nie czułem się w tym pokoju uwięziony, skoro go za godzinę miałem opuścić, aby wsiąść do powozu. Rzuciłem się na łóżko; i jak gdybym się znajdował na ławce jednego z owych statków, które widziałem dość blisko siebie i które dziwiłyby nas w nocy, przesuwać się wolno w ciemności, niby pociemniałe i milczące, lecz nie śpiące labędzie, byłem ze wszystkich stron otoczony obrazami morza.

Ale często były to w istocie tylko obrazy; zapomniałem, że pod ich barwą czaiła się smutna pustka plaży, nawiedzana niespokojnym wieczornym wiatrem, który tak dotkliwie odczuwałem za przyjazdem do Balbec; zresztą nawet w swoim pokoju, pochłonięty owymi spotkanymi dziewczętami, nie byłem już w stanie dość spokojnym ani dość bezinteresownym, aby się we mnie mogły zrodzić naprawdę głębokie wrażenia piękności. Nadzieja obiadu w Rivebelle wprawiała mnie w nastrój jeszcze płochszy, a myśl moja, przenosząc się w takich chwilach na powierzchnię mego ciała, które miałem przystroić, aby się wydać możliwie najpowabniejszy oczom kobiet, mających mnie lustrować w jarzącej się sali restauracyjnej, niezdolna była szukać głębi poza barwą przedmiotów. I gdyby za oknem niestrudzony i cichy lot jerzyków i jaskółek nie wzbijał się niby wodotrysk, niby fajerwerk życia, łączący przestrzenie między tymi racami nieruchomą i białą przędzą długich poziomych smug, bez uroczego cudu tego naturalnego i lokalnego zjawiska, wiążącego z rzeczywistością krajobrazy roztaczające się przed moimi oczami, mógłbym myśleć, że są one tylko codziennie odnawianym wyborem obrazów, jakie ktoś wystawia dowolnie w miejscu, gdzie się znajdował, ale bez koniecznego z tym miejscem związku.

Raz była to wystawa sztychów japońskich: obok delikatnego konturu słońca czerwonego i okrągłego jak księżyc, żółta chmura zdawała się jeziorem, na którym odcinały się czarne miecze niby nadbrzeżne drzewa; smuga delikatnego różowego koloru, jakiego nigdy nie odnalazłem od czasu mego pierwszego pudełka z farbami, wzdymała się jak rzeka, po której dwóch brzegach statki zdawały się czekać, aby je ściągnięto i puszczono na fale. I z pogardliwym, znudzonym i czczym spojrzeniem amatora lub kobiety przebiegającej między dwiema wizytami galerii obrazów, powiadałem sobie: „Ciekawy ten zachód słońca, to coś odmiennego, ale ostatecznie widywałem już równie delikatne, równie zdumiewające”.

Więcej przyjemności miałem w wieczory, w które jakiś statek, pochłonięty i roztopiony w horyzoncie identycznego koloru, wyglądał niby obraz impresjonistyczny i zdawał się również z tej samej materii, jak gdyby jego dziób i liny, w które się ścienił i wyrzeźbił, wycięto po prostu w mglistym błękitcie nieba. Czasami ocean wypełniał prawie całe moje okno, podniesiony pasmem nieba określonym u góry jedynie linią tak samo niebieską jak linia morza, ale które z tego powodu brałem jeszcze za morze, odmienny kolor przypisując grze światła. Innego dnia morze było namalowane jedynie w dolnej części okna, którego resztę zapełniały tyle chmur stłoczonych na sobie poziomymi smugami, że szyby zdawały się, wskutek intencji lub specjalności artysty, przedstawiać „studium chmur”, podczas gdy poszczególne witryny biblioteczne odbijały chmury podobne, ale w innych partiach horyzontu i rozmaicie zabarwione światłem: dawały one jak gdyby owo tak ulubione niektórym współczesnym mistrzom powtórzenie jednego i tego samego efektu, pochwyconego o różnych godzinach, ale teraz stężałe w sztuce, dostępne oku równocześnie w jednym pokoju, wykonane pastelami i wstawione za szkło. A czasami w jednostajną szarość nieba i morza mieszało się z uroczym wyrafinowaniem nieco różowego koloru, podczas gdy mały motylek, usnąwszy na ramie okna, zdawał się kłaść swymi skrzydłami pod tą „szaro-różową harmonią” w guście Whistlera ulubiony podpis mistrza z Chelsea. Nawet różowość znikła, nie było już na co patrzeć. Wstawałem na chwilę i nim się położyłem znowu, zasuwałem portiery. Ponad nimi widziałem z łóżka smugę jasności, która trwała jeszcze jakiś czas, ściemniając się, zwężając stopniowo; i bez smutku i żalu pozwalałem tak umierać nad portierami godzinie, gdy zazwyczaj byłem przy stole, bo wiedziałem, że ten dzień jest różny od innych, dłuższy, niby dni pod biegunem, które noc przerywa tylko na kilka minut; wiedziałem, że z poczwarki tego zmierzchu wyjdzie niebawem — w promiennej metamorfozie — olśniewający blask restauracji w Rivebelle.

Powiadałem sobie: „Już czas”; przeciągałem się na łóżku, wstawałem, kończyłem toaletę, znajdowałem urok w tych beużytecznych chwilach uwolnionych od wszelkiego materialnego ciężaru. Podczas gdy na dole inni jedli obiad, ja obracałem siły, nagromadzone w bezczynności tego schyłku dnia, jedynie na to, aby osuszyć swoje ciało, włożyć smoking, zawiązać krawat, wykonać wszystkie te gesty natchnione spodziewaną już przyjemnością oglądania jakiejś kobiety zauważonej ostatnim razem w Rivebelle, która (zdawało mi się) patrzyła na mnie i odeszła może na chwilę od stołu jedynie w nadziei, że ja pójdę za nią. Z radością stroiłem się we wszystkie te uroki, aby się oddać całkowicie i w weselu ducha nowemu, swobodnemu, beztroskiemu życiu, w którym miałem

oprzec swoje wahania o spokój Roberta i wybierać spośród gatunków historii naturalnej i produktów wszystkich krajów te, które, składając się na nieznanne dania natychmiast zamówione przez mego przyjaciela, skusiłyby moje łakomstwo lub wyobraźnię.

A na końcu przyszły dnie, gdy nie mogłem już wracać z promenady przez jadalnię; okna były już zamknięte, bo na dworze była noc, i chmara ciekawych i biedaków, ściągniętych niedosiężnym dla nich światłem, wisiała w czarnych, smaganych wiatrem gronach u świecących i gładkich ścian szklanego ula.

Ktoś zapukał: to Aimé chciał mi osobiście wręczyć ostatnią listę gości.

Przed odejściem Aimé czuł potrzebę oznajmienia mi, że Dreyfus jest po stokroć winny. „Wydzie na jaw wszystko — mówił — nie tego roku, ale na przyszły rok; mówił mi to jeden pan będący bardzo blisko generalnego sztabu. Pytałem go, czy się nie zdecydują odkryć wszystkiego zaraz, przed końcem roku. Odłożył papierosa — ciągnął Aimé, odgrywając scenę i potrząsając głową i wskazującym palcem, tak jak robił jego klient, aby tym wyrazić, że nie trzeba żądać za wiele. — «Nie w tym roku, Aimé (niby powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu), to niemożliwe. Ale na Wielkanoc, tak!»”. I Aimé trącił mnie lekko w ramię, powiadając: „Widzi pan, pokazuję panu dokładnie, jak on to zrobił”, czy że mu pochlebila poufalskość znacznej figury, czy abym lepiej mógł ocenić, z całą świadomością rzeczy, wartość tego argumentu i przyczyn naszych nadziei.

Nie bez lekkiego wstrząsu w sercu na pierwszej liście gości ujrzałem słowa: „Simonet z rodziną”. Miałem w sobie stare marzenia, datujące z czasu mego dzieciństwa, w których całą czułość będącą w moim sercu, doznawaną przez nie, ale z niego nie wyodrębnioną, przynosiła mi istota możliwie najbardziej ode mnie różna. Jeszcze raz sfabrykowałem tę istotę, posługując się w tym celu nazwiskiem *Simonet* i wspomnieniem harmonii panującej między młodymi ciałami, które widziałem rozwijające się na plaży, w sportowej procesji, godnej antyku i Giotta. Nie wiedziałem, która z tych dziewcząt jest panną Simonet, czy w ogóle która z nich się tak nazywa; ale wiedziałem, że panna Simonet mnie kocha i że spróbuję, dzięki Robertowi, zapoznać się z nią. Na nieszczęście, Saint-Lo-up zmuszony był wracać co dzień do Doncières, uzyskawszy przedłużenie urlopu tylko pod tym warunkiem; ale wierzyłem, że jeżeli nie przyjaźń dla mnie, to sama ciekawość wystarczy, aby go odciągnąć od wojskowych obowiązków. Liczyłem na ten zmysł badacza ludzkiej natury, który tak często — nawet bez widzenia osoby, o której była mowa, z samego słyszenia, że jest np. ładna kasjerka w owocarni, rodził we mnie chęć poznania nowej odmiany piękności kobiecej. Ale myliłem się, kiedym się spodziewał obudzić tę ciekawość w Robercie, mówiąc mu o swoich dziewczętach. Sparaliżowała ją w nim na długo miłość do owej aktorki, z którą miał stosunek. I gdyby nawet odczuł nieco tej ciekawości, byłby ją zdławił przez jakąś zabobonną wiarę, że od jego własnej wierności może zależeć wierność jego kochanki. Pojechaliśmy tedy na obiad do Rivebelle bez przyrzeczenia czynnej pomocy ze strony Roberta.

W pierwszym okresie, kiedymy przybywali, słońce dopiero co zaszło, ale było jeszcze jasno; w ogrodzie restauracji, gdzie nie zapalono jeszcze światła, gorąco dnia opadało, kładło się niby na dnie naczyń, na którego ścianach przezroczysta i ciemna galareta upalnego powietrza zdawała się tak stężać, że wielki krzak róży, rosnący na ciemnym murze i fładujący go różowo, robił wrażenie słoików widzianych w onyksie. Niebawem wysiadaliśmy z powozu aż w nocy, często nawet już nocą wyjeżdżaliśmy z Balbec, o ile było brzydtko, a my opóźniliśmy wyjazd w nadziei lepszej pogody. Ale w owe dnie słuchałem bez smutku świstu wiatru; wiedziałem, że nie oznacza on poniechania projektów, zamknięcia w pokoju; wiedziałem, że w wielkiej sali jadalnej, dokąd wejdziemy przy dźwięku cygańskiej muzyki, niezliczone lampy zwyciężą bez trudu ciemność i zimno, przypalając je swymi złotymi żegadłami; wesoło sadowiłem się obok Roberta w powozie czekającym na deszczu. Od jakiegoś czasu słowa Bergotte’a wróżące mi, że jakie bądź miałbym pojęcie o sobie, stworzony jestem zwłaszcza do rozkoszy intelektualnych, wróciły mi, co do moich późniejszych prac, nadzieję, którą co dnia unicestwiała nuda, jakiej doznawałem, siadając przy biurku, aby rozpocząć studium krytyczne lub powieść. „Ostatecznie (powiadałem sobie), może przyjemność, jakiej się zaznało przy pisaniu, nie jest niezawodną próbą wartości utworu; może ona jest tylko dodatkowym stanem, który łączy się często z pisaniem, ale którego brak nie może świadczyć przeciwko dziełu. Może istnieją arcydzieła, przy których autor ziewał”. Babka koła moje zwątpienia, zaręczając,

że pracowałbym dobrze i z radością, gdybym był zdrow. I ponieważ nasz lekarz uznał za właściwe ostrzec mnie przed poważnym ryzykiem związanym z moim stanem zdrowia i wskazał wszystkie higieniczne ostrożności, jakich trzeba przestrzegać, aby unikać choroby — poddawałem wszystkie przyjemności celowi, który mi się wydawał nieskończenie ważniejszy: stać się na tyle silnym, aby móc zrealizować dzieło, jakie może nosiłem w sobie. Toteż od czasu pobytu w Balbec wykonywałem nad sobą samym drobiazgową i stałą kontrolę. Nikt by mnie nie skłonił do filiżanki kawy, która, pozbawiając mnie w nocy snu, uczyniłaby mnie zmęczonym nazajutrz. Ale kiedyśmy przybywali do Rivebelle, podniecony nową przyjemnością, znalazłszy się w tej odmiennej strefie, w którą wprowadza nas *wyjatkowość*, przeciąwszy przedzoną cierpliwie od tyłu dni nitkę wiodącą nas ku rozsądkowi, natychmiast, jak gdybym już nie miał ani jutra, ani wzniosłych celów przed sobą, gubiłem ów ścisły mechanizm roztropnej higieny, funkcjonujący dla ochrony tych celów. Podczas gdy lokaj odbierał ode mnie palto, Saint-Loup mówił:

— Nie będzie ci zimno? Lepiej byś może zrobił, zostając w palcie; nie jest zbyt gorąco.

Odpowiadałem: „Nie, nie”; może nie czułem zimna, ale w każdym razie nie znalazłem już obawy przed chorobą, konieczności *nie umierania*, ważności pracy. Oddawałem palto; wchodziliśmy do sali restauracyjnej przy dźwiękach jakiegoś marsza wojennego granego przez Cyganów, posuwaliśmy się między rzędami nakrytych stolików niby łatwą drogą chwały, czując radosny żar, wlny w nasze ciało rytmem orkiestry, która nam oddawała honory wojskowe niezasłużonego tryumfu. Pokrywaliśmy ten żar poważną i lodowatą miną, krokiem pełnym znużenia, aby nie naśladować owych lafirynd z *café-concert*, które, odśpiewawszy na wojowniczą nutę pikantny kuplecik, wbiegają pędem na scenę z marsowym gestem zwycięskiego generała.

Począwszy od tej chwili byłem nowym człowiekiem; nie byłem już wnukiem swojej babki, o której miałem sobie przypomnieć aż wychodząc, ale chwilowym bratem garsonów mających nas obsługiwać.

Dawkę piwa, tym bardziej szampana, na którą w Balbec nie pozwoliłbym sobie ani w ciągu tygodnia (wówczas gdy smak tych napojów ukazywał memu jasnowidzącemu i spokojnemu sumieniu przyjemność dającą się ściśle ocenić, ale łatwą do poświęcenia), pochłaniałem w ciągu godziny, dodając do tego parę kropel porto, zbyt roztargniony, aby czuć jego smak; skrzypkowi, gdy odegrał kawalek, oddawałem dwa „ludwiki”, ciulane od miesiąca w intencji jakiegoś sprawunku, któremu już sobie nie przypominał. Garsoni pomykali pędem między stolikami, niosąc na wyprężonych dłoniach półmiski, których nieupuszczenie zdawało się celem tego wyścigu. I w istocie czekoladowe sufflety dochodziły swego przeznaczenia nieprzewrócone, kartofelki *à l'anglaise*, mimo galopu, który powinien był nimi wstrząsnąć, były ułożone jak przy wyjściu z kuchni dokoła jagnięcia *Paullbac*. Zauważyłem jednego z tych służebników: bardzo wysoki, upierzony wspaniałymi czarnymi włosami, usminkowany cerą bardziej przypominającą niektóre gatunki rzadkich ptaków niż gatunek człowieka, chłopak ten, biegając bez przerwy i można by rzec bez celu z jednego końca sali na drugi, przywodził na myśl owe papugi ara, napelniające w ogrodach zoologicznych wielkie klatki swoim gorącym kolorytem i niepojętą ruchliwością. Niebawem widowisko zorganizowało się, przynajmniej w moich oczach, szlachetniej i spokojniej. Cały ten zawrotny ruch ustalał się w spokojnej harmonii. Okrągłe stoliki, których niezliczona mnogość napelniała restaurację, zdawały mi się niby planety, takie jak je przedstawiają dawne alegoryczne obrazy. Zresztą nieodparta siła przyciągania działała między tymi gwiazdami; przy każdym stole goście wypatrywali oczy na obce stoły, wyjąwszy jakiegoś bogatego amfitriona, który, zdolawszy ściągnąć sławnego pisarza, siłił się dobywać z niego, niby mocą wirującego stolika, blahe odezwania się, pogrążające damy w zachwycie. Harmonia tych astralnych stołów nie przeszkadzała nieustannemu krążeniu niezliczonych służebników, poruszających się w wyższej sferze, ile że zamiast — jak goście — siedzieć, wciąż byli na nogach. Z pewnością jeden biegł po zakąski, nalewał wino, przynosił szklanki. Ale mimo tych poszczególnych racji, ich ustawiczny ruch między okrągłymi stolikami wylał w końcu prawo swego zawrotnego i regularnego krążenia. Siedząc za żardinierą kwiatów, dwie potworne kasjerki, pochłonięte bez końca rachunkami, były niby dwie wróżki, siłące się za pomocą astrologicznych obliczeń przewidzieć zaburzenia, jakie mogły się czasem zdarzyć na tym niebieskim sklepieniu, poczętym w duchu średniowiecznej wiedzy.

I żalowałem po trosze wszystkich gości, bo czułem, że dla nich okrągłe stoliki nie są planetami i że nie dokonali operacji duchowej, która nas wyzwala z powszedniego wyglądu rzeczy i daje nam spostrzegać analogie. Myśleli o tym, że jedzą obiad z tym czy z owym, że będzie to kosztowało mniej więcej tyle a tyle i że wrócą tu nazajutrz. I zdawali się absolutnie nieczuli na rozwijający się orszak młodych garsonów, którzy, nie mając zapewne w tej chwili pilnego zajęcia, obnosili procesjonalnie chleb w koszykach. Niektórzy z nich zbyt młodzi, ogłupiali od szturchańców, jakie im rozdawali po drodze starsi kelnerzy, wlepiali melancholijnie oczy w odległe marzenie, raźniejsi jedynie wtedy, gdy jakiś klient z hotelu w Balbec, gdzie niegdyś pracowali, poznał ich, zagadał i polecił im osobiście, aby sprzątnęli szampan „niemożliwy do picia”, co ich napępniało dumą.

Słyszałem pomruk swoich nerwów, w których była jakaś błogość niezależna od zewnętrznych zjawisk zdolnych mi jej udzielić; najłżejsze przemieszczenie mojego ciała, mojej uwagi, wystarczało, aby mnie przejąć tą błogością, jak lekki ucisk daje zamkniętym oczom wrażenie barwy. Piłem już dużo porto i jeżeli jeszcze go żądałem, to nie tyle w nadziei błogości, oczekiwanej od nowych kieliszków, ile wskutek tej, jaką mi dały poprzednie. Pozwalałem muzyce prowadzić do woli moją przyjemność ku każdej nucie, gdzie wówczas skłaniała się posłusznie. O ile — podobna w tym do owych fabryk chemicznych, dzięki którym produkuje się masowo ciała spotykane w naturze przygodnie i rzadko — restauracja w Rivebelle gromadziła naraz więcej kobiet kuszących mnie tajemną nadzieją szczęścia, niżbym ich mógł spotkać na spacerach w ciągu roku, z drugiej strony, ta muzyka — transkrypcje walców, niemieckich operetek, piosenek z *café-concert*, wszystko dla mnie nowe — była sama niby powietrzny przybytek rozkoszy, wznoszącej się nad tamtą i bardziej upajającej. Bo każdy motyw, odrębny jak kobieta, nie chował, tak jak by kobieta uczyniła, tajemnicy skrywanej rozkoszy dla kogoś uprzywilejowanego; proponował mi tę rozkosz, wabił mnie, podchodził do mnie kapryśnym lub szelmowskim krokiem, zaczepiał mnie, pieścił, jak gdybym się stał nagle ponętniejszy, potężniejszy lub bogatszy; znajdowałem w tych melodiach coś okrutnego, bo też wszelkie bezinteresowne poczucie piękna, wszelki odbłask inteligencji były im obce; dla nich istnieje tylko rozkosz fizyczna. I stają się najbardziej bezlitosnym, najbeznadziejniejszym piekłem dla nieszczęsnego zazdrośnika, ukazując mu tę rozkosz — rozkosz, jakiej ukochana kobieta kosztuje z innym — jako jedyną rzecz istniejącą w świecie dla tej, co jest dla nas całym światem.

Ale podczas gdy powtarzałem półgłosem tę melodię i oddawałem jej pocałunek, owa swoista czerpana z niej rozkosz stała mi się tak droga, że byłbym opuścił rodziców, aby iść za tym motywem w dziwny świat, jaki on budował w Niewidzialnym, w liniach na przemian omdlewających i żwawych. Taka przyjemność nie przydaje wartości człowiekowi, w którego wstąpi, jest bowiem uchwytana jedynie dla niego samego. Jeżeli się na przykład nie podobamy jakiejś kobiecie, która nas spostrzegła, kobieta ta nie wie, czy my w tej chwili odczuwamy ową wewnętrzną i subiektywną błogość, niezdolną tym samym nic zmienić w sądzie jej o nas; mimo to czułem się wspanialszy, prawie nieodparty. Zdało mi się, że moja miłość nie jest już czymś niepożądanym i śmiesznym, ale że posiada właśnie wzruszające piękno i urok tej muzyki, stwarzającej niby sympatyczne środowisko, gdzieśmy się spotkali z tą, którą kochałem, stawszy się nagle sobie bliscy.

Restaurację tę odwiedzał nie tylko półświatek, ale także ludzie najwytworniejszego świata, przychodzący na podwieczorek około piątej lub wydający tam wielkie obiady. Podwieczorek odbywał się w długiej i wąskiej oszklonej galerii w kształcie korytarza. Wiodąc od sieni do jadalni, korytarz ten miał po jednej stronie ogród, od którego dzieliło go, poza kilkoma kamiennymi filarami, jedynie otwierane tu i ówdzie oszklenie. Wynikały stąd, poza licznymi przeciągami, nagle i dorywcze wtargnięcia słońca, fantastyczne oświetlenia, niepozwalające prawie rozpoznać obecnych kobiet; kiedy tam siedziały, stłoczone po dwa stoliki w całej długości wąskiej gardzieli, mieniając się w świetle za każdym ruchem uczynionym przy picu herbaty lub ukłonie, robiło to wrażenie zbiornika, więcierza, gdzie rybak nagromadził olśniewające ryby, które, w pół wystając z wody i skąpane w promieniach, migocą mieniając się blaskiem.

W kilka godzin później, w czasie obiadu, który oczywiście podawano w sali jadalnej, zapalano światła, choć na dworze było jeszcze jasno. Obok chorągwi majaczących w zmierzchu i wyglądających na blade widma wieczoru, widać było krzewy, których ciemną zieloność przesywały ostatnie promienie i które z oświeconej lampami jadalni

Rozkosz

widziało się za oszkleniem — już nie, jakby można rzec, jak damy spożywające o schyłku dnia podwieczorek, wzdłuż siniego i złotego korytarza, w lśniącej i wilgotnej siatce — ale jak wegetacje bladzielonego olbrzymiego akwarium o nadnaturalnym świetle. Wstawano od stołu, a o ile w czasie posiłku goście, przyglądając się sobie wzajem, rozpoznając się, pytając o nazwiska osób przy sąsiednich stolikach, pozostawali skupieni dokoła własnego stołu, siła przyciągająca, wiążąca ich do amfitriona tego wieczoru, traciła swoją moc w chwili, gdy przechodzili na kawę do galerii opustoszałej po podwieczorku. Zdarzało się często, iż w trakcie zmiany miejsca taki wędrowny obiad tracił jeden lub kilka swoich atomów, które, uległszy zbyt silnemu przyciąganiu innego obiadu, odczepiały się na chwilę od własnego stolika, gdzie zastępowali je panowie lub damy zbliżający się dla powitania przyjaciół, zanim powrócą, rzekłszy: „Muszę wracać do pana X..., jestem dziś jego gościem”. Można by rzec, dwa bukiety, wymieniające między sobą parę kwiatów.

Potem i korytarz się opróżniał. Często, kiedy nawet po obiedzie było jeszcze trochę widno, nie zapalano światła w tym długim korytarzu, który, okolony drzewami kołyszącymi się za oszkleniem, robił wrażenie alei w zadrzewionym i mrocznym ogrodzie. Czasem, po obiedzie, jakaś kobieta chroniła się tam w mroku. Pewnego wieczora, mijając korytarz i kierując się ku wyjściu, spostrzegłem tam, w nieznanym towarzystwie, piękną księżną de Luxembourg. Złożyłem ukłon bez zatrzymywania się. Poznała mnie, skinęła głową z uśmiechem; a ponad ten ukłon, jakby wydzielając się z jej gestu, wzniosło się melodyjnie kilka słów pod moim adresem, niby przedłużone trochę pozdrowienie, nie aby mnie zatrzymać, jedynie aby uzupełnić ukłon, czyniąc zeń „ukłon mówiony”. Ale słowa były tak niewyraźne, dźwięk — jedynie słyszalny — przeciągnął się tak słodko i tak muzycznie, że miałem wrażenie słowika śpiewającego w ciemnej gęstwie liści.

Czasami, chcąc dokończyć wieczoru z gromadką spotkanych przyjaciół, Saint-Loup wybierał się do kasyna na sąsiednią plażę i nim się puścił z całym towarzystwem, wsadzał mnie samego do pojazdu. Wówczas kazałem woźnicy jechać całym pędem, aby skrócić chwile spędzone bez towarzysza zdolnego dostarczyć mojej pobudliwości owych podniet, które od przybycia do Rivebelle otrzymywałem z zewnątrz, a których teraz — dając jakby kontrparę i wyrывая się z bierności, w jakiej ugrzązłem — musiałem dostarczyć sobie sam. Możliwość zahaczenia o powóz jadący w przeciwnym kierunku na dróźnie, gdzie było miejsce tylko dla jednego wehikułu i gdzie było całkiem ciemno, niepewność osuwającego się gruntu, bliskość stromego spadku ku morzu, wszystko to nie mogło ze mnie wydobyć małego wysiłku, zdolnego uprzytomnić mojej myśli pojęcie i obawę niebezpieczeństwa. Bo jak nie żądza sławy, ale nawyk pracy pozwala nam wydać dzieło, tak samo nie radość obecnej chwili, ale roztropne refleksje czerpane z przeszłości pomagają nam ubezpieczyć przyszłość. Otóż jeżeli już przybywając do Rivebelle odrzuciłem od siebie owe kule rozumowania i samokontroli, pomagające naszej niemocy iść prosto, i czułem się ofiarą jakiegoś moralnego bezwładu, alkohol, napinając szczególnie moje nerwy, dawał obecnym minutom wartość, urok, nie czyniąc mnie zdolniejszym ani nawet gorliwszym w tym, aby ich bronić; każąc mi bowiem tysiąckrotnie przekładać owe chwile nad resztę mego życia, egzaltacja moja izolowała je od niego; byłem zamknięty w teraźniejszości jak bohaterowie, jak pijacy. Przeszłość moja, chwilowo przyćmiona, nie rzuciła przede mnie swego cienia, który nazywamy przyszłością; mieszcząc cel życia już nie w ziszczeniu marzeń owej przeszłości, ale w szczęściu chwili obecnej, nie sięgałem wzrokiem dalej. Tak, iż przez sprzeczność jedynie pozorną, w chwili, kiedym doznawał wyjątkowej przyjemności, kiedym czuł, że moje życie mogłoby być szczęśliwe, kiedy powinno było mieć w moich oczach więcej ceny, w tej właśnie chwili, zwolniony z trosk, jakie to życie mogło we mnie budzić dotąd, zdawałem je bez wahania na ryzyko wypadku. W sumie zresztą zagęściłem tylko w jednym wieczorze niedbałość rozpuszczoną w całym istnieniu innych ludzi, codziennie ryzykujących bez potrzeby podróż morską, spacer samolotem lub samochodem, kiedy ich w domu oczekuje istota, którą zmiażdżyłaby ich śmierć, lub kiedy jest jeszcze związana z kruchością ich mózgu książka, której bliskie wydanie na świat jest jedyną racją ich życia. I tak samo w czasie naszych wieczorów w Rivebelle, gdyby się nagle zjawił ktoś, aby mnie zabić, wówczas, widząc już tylko w nierealnej dali moją babkę, moje przyszłe życie i przyszłe książki, roztopiony całkowicie w zapachu kobiety siedzącej przy sąsiednim stole, w uprzejmości kelnerów, w melodii granego walca, utożsamiony z doraźnym wrażeniem, nie sięgając poza nie i nie mając innego celu niż ten, aby się

z nim nie rozłączać, skonałbym w jego uścisku, dałbym się zmasakrować bez oporu, bez ruchu, niby pszczoła odurzona tytoniowym dymem, niedbająca już o to, aby ubezpieczyć kapitał swoich nagromadzonych trudów, nadzieję swego roju.

Muszę zresztą powiedzieć, że ta nicość, w jaką popadały najpoważniejsze rzeczy przez kontrast z siłą mojej egzaltacji, ogarniała w końcu nawet pannę Simonet i jej przyjaciółki. Sprawa ich poznania wydawała mi się teraz łatwa, lecz obojętna, bo jedynie moje doraźne wrażenie, dzięki swej niezwyklej sile, dzięki radości, jaką budziły jego najlżejsze odmiany, a nawet jego proste trwanie, miało dla mnie wagę; wszystko inne, rodzice, praca, przyjemności, dziewczęta z Balbec, ważyło nie więcej niż bryzg piany w wichrze niepozwalającym jej osiąść; istniało jedynie w stosunku do tej wewnętrznej siły. Pijaństwo realizuje na kilka godzin podmiotowy idealizm, czysty fenomenalizm; wszystko jest już tylko pozorem i istnieje jedynie w stosunku do naszego wzniesłego *ja*. To nie znaczy zresztą, aby prawdziwa miłość, o ile ją odczuwamy, nie mogła przetrwać w podobnym stanie. Ale czujemy, że — niby w nowym środowisku — nieznanne ciśnienia zmieniły wymiary tego uczucia, tak, iż nie możemy go brać tak samo. Odnajdujemy tę samą miłość, ale przemieszczoną, nie ciężącą już na nas, zadowoloną z wrażenia, jakiego jej używa terażniejszość i które nam wystarcza, bo nie troszczymy się o to, co nie jest doraźne. Na nieszczęście, współczynnik zmieniający w ten sposób wartości zmienia je tylko na tę godzinę pijaństwa. Osoby, które straciły dla nas znaczenie i na które dmuchaliśmy niby na bańki mydlane, odzyskają jutro swoją gęstość; trzeba nam będzie imać się na nowo prac, które nie znaczą już nic. Rzecz o wiele poważniejsza jeszcze: ta matematyka jutrzejsza, ta sama co wczorajsza i z której problemami przyjdzie się nam nieubłaganie zmagać, rządzi nami nawet przez te godziny, z wyjątkiem dla nas samych. Jeżeli się znajdziemy w pobliżu kobiety cnotliwej lub niechętnej, podobać się jej — rzecz tak trudna poprzedniego dnia — wydaje się nam teraz milion razy łatwiejsza, mimo iż nie łatwiejsza w niczym, bo jeżeliśmy się zmienili, to jedynie w naszych własnych oczach, w naszych własnych duchowych oczach. I ta kobieta jest w tej samej chwili równie niezadowolona z naszej poufałości, jak my będziemy markotni nazajutrz, żeśmy dali sto franków garsonowi; i to z tej samej przyczyny, która dla nas przyszła jedynie później: z trzeźwości.

Nie znałem żadnej z kobiet obecnych w Rivebelle. Przez to, że były częścią mego pijaństwa, jak odbite obrazy są częścią lustra, wydawały mi się tysiąc razy pożądanse<sup>57</sup> niż coraz to mniej istniejąca panna Simonet. Młoda blondynka, samotna, patrząca smutno spod słomkowego kapelusza przybranego polnymi kwiatami, spojrziała na mnie chwilę z zadumaną twarzą i wydawała mi się sympatyczna. Potem przyszła kolej na drugą, potem na trzecią; w końcu na brunetkę o wspaniałej cerze.

W przeciwieństwie do mnie, Saint-Loup znał je prawie wszystkie. Zanim poznał obecną kochankę, był tak wżyty w zamknięty świat hulanków, że wśród wszystkich kobiet bywających w owe wieczory w Rivebelle (wiele z nich było tam przypadkiem, znalazłszy się nad morzem jedne dla zobaczenia się z kochankiem, drugie, aby próbować złowić kochanka), nie było bodaj żadnej, której by on nie znał, z którą by nie spędził — on lub któryś z jego przyjaciół — choćby jednej nocy. Saint-Loup nie kłaniał się im, o ile były w towarzystwie mężczyzny; one zaś, udając, że go nie znają, patrzyły nań ze szczególnym zainteresowaniem, gdyż znana jego obojętność na wszystko poza aktorką, z którą żył, dawała mu w ich oczach szczególny urok. Jedna szeptała:

— To młody Saint-Loup. Zdaje się, że on wciąż kocha swoją żdzirę. To wielka miłość. Co za śliczny chłopiec! Dla mnie on jest bajkowy: i co za szyk! Są jednak kobiety, które mają wściekle szczęście. To chłopiec szykowny we wszystkim! Znałam go dobrze, kiedy byłam z Orleanem. To byli dwaj nierozłączni. Ależ on się lumpował wtedy! Ale teraz już się skończyło; wierny jest tej kłępie. Och, ta może powiedzieć, że wygrała los. I pytam się, co on w niej może widzieć? Musi być z tym wszystkim potężny kretyn. Ona ma nogi jak czółna, amerykańskie wąsiki, a przy tym brudna! Myślę, że prosta robotnica nie chciałaby włożyć jej majtek. Popatrz tylko, co on ma za oczy, człowiek by się w ogień rzucił dla takiego chłopca. O, cicho siedź, poznał mnie, śmieje się, och! on mnie znał dobrze. Wystarczy mu wspomnieć o mnie...

<sup>57</sup>pożądansej — dziś popr.: bardziej pożądanany. [przypis edytorski]

Chwytałem pomiędzy nim a nimi porozumiewawcze spojrzenia. Byłbym chciał, aby mnie Robert przedstawił tym kobietom, chciałbym je móc poprosić o schadzki; potrzeba mi było ich zgody, nawet gdybym nie miał z niej skorzystać. Bo inaczej twarz ich pozostałaby w mojej pamięci na zawsze pozbawiona owej części — tak jakby ta część była skryta zasłoną — która zmienia się u wszystkich kobiet, której nie możemy sobie wyobrazić, o ileśmy jej nie widzieli, a która objawia się jedynie w spojrzeniu przyjmującym życzliwie naszą żądzę i obiecującym ją zaspokoić. A jednak nawet tak zubożona twarz ich była dla mnie czymś o wiele więcej niż twarz kobiet, o których bym wiedział, że są cnotliwe, i nie wydawała mi się jak twarz tamtych płaska, bez głębi, odrobiona z jednego kawałka. Zapewne nie była dla mnie tym, czym musiała być dla Roberta, który pod przejrystą — dla niego — obojętnością martwych rysów udających, że go nie znają, lub pod banalnością ukłonu, który mógłby być równie dobrze dla każdego innego, siłą pamięci przypominał sobie, widział, pośród zburzonych włosów spazm ust i przymknięte oczy, cały milczący obraz jak te, które malarze, myśląc oczy pospolitego widza, kryją nieraz w skromnym płótnie. Zapewne dla mnie, który czułem, że nic z mojej istoty nie wniknęło w żadną z tych kobiet i nie miało jej towarzyszyć na nieznanym drogach życia, twarze te były zamknięte. Ale dość mi już było wiedzieć, że się otwierają, aby osiągnęły w moich oczach wartość, jakiej bym w nich nie znalazł, gdyby to były jedynie piękne medale, nie zaś medaliony kryjące wspomnienia miłosne. Co się tyczy Roberta, ledwie zdolnego usiedzieć w miejscu, kryjącego pod dwornym uśmiechem żołnierską żądzę czynu, patrząc nań, zdawałem sobie sprawę, jak dalece energiczny kościec jego trójkątnej twarzy musi być podobny do czaszki jego przodków, bardziej stworzony dla żarkiego łucznika niż dla subtelnego pięknoducha. Pod cienką skórą czuć było śmiałą budowę, feudalną architekturę. Głowa jego przywodziła na myśl owe baszty starożytnych warowni, których nieużywane strzelnice są jeszcze widoczne, ale które przerobiono wewnątrz na bibliotekę.

Szlachcic, Ciało

Wracając do Balbec, powtarzałem sobie bez ustanku, mimo iż niemal bezwiednie, o jakiejś z tych nieznanym, której mnie Robert przedstawił: „Cóż za rozkoszna kobieta!” — tak jak się nuci refren. Z pewnością słowa te raczej mi dyktował stan moich nerwów niż trwały sąd. Niemniej prawdą jest, że gdybym miał przy sobie tysiąc franków i gdyby o tej godzinie jubilerzy byli jeszcze otwarci, byłbym kupił nieznaną pierścionek. Kiedy godziny naszego życia rozwijają się niby zbyt rozmaite płaszczyzny, nieraz dajemy za wiele z siebie jakimś osobom, które nazajutrz wydadzą się nam obojętne. Ale czujemy się odpowiedzialni za to, cośmy im powiedzieli wczoraj, i chcemy tego dotrzymać.

Ponieważ w owe wieczory wracałem później, z przyjemnością odnajdywałem w pokoju — już nie wrogim — łóżko, w którym w dniu przybycia myślałem, że nigdy nie zdołam zasnąć i gdzie teraz moje zmęczone członki szukały oparcia; tak iż kolejno moje uda, biodra, ramiona, starały się przylgnąć wszystkimi punktami do prześcieradła pokrywającego materac, jak gdyby moje zmęczenie, podobne rzeźbiarzowi, chciało zdjąć całkowity odlew ciała ludzkiego. Ale nie mogłem zasnąć, czułem, że zbliża się ranek; spokój, zdrowie, odeszły ode mnie. Miałem rozpaczliwe uczucie, że ich już nigdy nie odnajdę. Trzeba mi było spać długo, aby je doścignąć. Otóż gdybym nawet zasnął, niezawodnie obudziłby mnie w dwie godziny później koncert symfoniczny. Naraz zasypiałem; popadałem w ten ciężki sen, w którym odsłania się nam powrót młodości, powtórzenie minionych lat, straconych uczuć, dezinkarnacja, wędrówka dusz, wywołanie umarłych, zły szaleństwa, cofanie się w najelementarniejsze królestwa przyrody. (Mówi się, że często widzimy we śnie zwierzęta; ale zapomina się prawie zawsze, że my sami jesteśmy we śnie zwierzęciem pozbawionym owego rozumu, który daje rzeczom oczywistą jasność; przeciwnie, stwarzamy we śnie jedynie wątpliwą wizję życia w każdej minucie unicestwioną zapomnieniem, ile że poprzednia rzeczywistość niknie wobec nowej, tak jak projekcja latarni magicznej ustępuje następnej, kiedy zmieniamy szybkość). Jawią się nam wszystkie owe tajemnice, których jakoby nie znamy, a które przeżywamy w istocie prawie co noc, zarówno jak wielką tajemnicę unicestwienia i zmartwychwstania. Zbalaamucone mozolnym trawieniem obiadu w Rivebelle, kolejne i wędrówne wizje mrocznych stref mojej przeszłości czyniły ze mnie istotę, dla której najwyższym szczęściem byłoby odnaleźć pana Legrandin, przed chwilą rozmawiającego ze mną we śnie.



Potem nawet własne życie skryło mi się całkowicie za nową dekoracją, ustawioną niby na samym przodzie, przed którą aktorzy dają *divertissement*, gdy za nią dokonywa się zmiany obrazu. Widowisko, w którym grałem wówczas, było w guście wschodnich bajek; nie wiedziałem w nim nic o swojej przeszłości ani o sobie, odcięty od tego wszystkiego właśnie ową dekoracją; byłem jedynie figurą biorącą kije i cierpiącą rozmaite kary za błąd, którego nie pojmowałem, ale którym był fakt wypicia za wielkiej ilości porto. Naraz budziłem się, spostrzegłem, że pod ochroną długiego snu nie słyszałem koncertu. Było już po południu; upewniłem się o tym na zegarku. Parę razy próbowałem się podnieść, co kończyło się opadnięciem na poduszki w owym chwilowym bezwładzie, jaki następuje po śnie lub innym pijaństwie, czy go daje wino, czy rekonwalescencja; zresztą zanim nawet spojrziałem na godzinę, byłem pewny, że południe minęło. Wczoraj wieczór byłem jedynie istotą wypaproszoną, bez ciężaru (ile że trzeba wprzód leżeć, aby być zdolnym usiąść, i trzeba się wyspać, aby być zdolnym milczeć), nie mogłem przestać ruszać się ani mówić, nie miałem już konsystencji, środka ciężkości, byłem rzucony w przestrzeń, zdawało mi się, że ten martwy bieg mógłby mnie nieść aż na księżyc. Otóż mimo iż we śnie oczy moje nie widziały godziny, ciało umiało ją obliczyć; zmierzyło czas nie na cyferblacie, ale przez kolejne odważenie wszystkich moich odzyskanych sił, które, niby potężny zegar, czas spuścił stopniowo z mózgu w resztę mego ciała, gdzie obecnie gromadziły się powyżej kolan nietknięty nadmiar swoich zapasów. Jeżeli prawdą jest, że morze było niegdyś naszym biologicznym środowiskiem, w którym dziś jeszcze trzeba by nam się zanurzać, aby odzyskać siły, tak samo jest z zapomnieniem, z unicestwieniem duchowym; człowiek zdaje się wówczas przez kilka godzin nieobecny w czasie; ale niezużyte siły, jakie się zgrupowały przez ten czas, mierzą go swoją ilością równie dokładnie jak wagi zegara lub osypujący się piasek w klepsydrze. Nie łatwiej jest zresztą wyrwać się z takiego snu niż z przydługiego czuwania, tak bardzo wszystkie rzeczy dążą do trwałości; i jeżeli prawdą jest, że niektóre narkotyki usypiają, długi sen jest potężniejszym jeszcze narkotykiem, po którym bardzo trudno jest się rozbudzić. Podobny majtkowi, dobrze widzącemu brzeg, gdzie ma uwiązać barkę wstrząsaną jeszcze przez fale, chciałem sprawdzić godzinę i wstać, ale sen zagarniał co chwila z powrotem moje ciało; lądowanie było trudne i zanim wstałem, aby wziąć zegarek i skonfrontować godzinę z tą, którą wskazywało bogactwo materiałów, jakimi rozporządzały moje zmęczone nogi, opadłem jeszcze parę razy na poduszkę.

W końcu ujrzałem jasno: „druga popołudniu!”. Zadzwoiłem, ale natychmiast zagarnął mnie sen, który tym razem miał być nieskończenie dłuższy, jeżeli mam o tym wnosić z wypoczynku i wizji olbrzymiej nocy, jakie budząc się zastałem. Jednakże przebudzenie to spowodowała Franciszka, której wejście sprowadził znowuż mój dzwonek. Ten nowy sen, który wydał mi się o wiele dłuższy od tamtego i dał mi tyle spokoju i zapomnienia, trwał ledwie pół minuty.

Babka otworzyła drzwi do mego pokoju, zadałem jej parę pytań dotyczących rodziny Legrandin.

Nie dość powiedzieć, że odzyskałem spokój i zdrowie, bo to, co w wilię dzieliło je ode mnie, było czymś więcej niż prostą odległością; musiałem całą noc walczyć z przeciwną falą; a potem nie tylko znalazłem się w pobliżu nich, weszły z powrotem we mnie. W ściśle określonych i jeszcze nieco bolesnych punktach mojej próżnej głowy, która pewnego dnia strzaska się, pozwalając myślom wymknąć się na zawsze, odzyskały one jeszcze raz swoje miejsce, odnalazły tę egzystencję, z której niestety dotąd nie umiały skorzystać.

Jeden raz więcej uniknąłem niemożności snu, potopu, katastrofy przypadłości nerwowych. Nie bałem się już wcale tego, co mi groziło poprzedniego dnia wieczorem, kiedy byłem wyzuty ze spoczynku. Nowe życie otwierało się przede mną; nie robiąc najmniejszego ruchu, jeszcze złamany, mimo że już wypoczęty, maskowałem radośnie swoje zmęczenie; wyosobniło ono i znużyło kości moich nóg i rąk, które czułem złożone przed sobą, gotowe połączyć się, i które miałem podnieść po prostu, śpijąc, niby ów architekt w bajce.

Naraz przypomniałem sobie młodą, melancholijną blondynkę, którą widziałem w Rivebelle i która popatrzyła na mnie przez chwilę. W ciągu wieczoru spodobało mi się wiele innych, teraz ona jedna wyłoniła się z głębin mej pamięci. Zdawało mi się, że mnie zauważyła; oczekiwałem, że któryś garson z Rivebelle przyniesie mi liścik od niej. Saint-Loup

nie znał jej i myślał, że to jest przyzwoita kobieta. Byłoby bardzo trudno ujrzeć ją, widywać ją bez ustanku. Ale dla tego celu byłem gotów na wszystko, myślałem już tylko o niej. Filozofia często mówi o aktach wolnych i o aktach koniecznych. Może nie ma aktu bardziej nam narzuconego niż ten, który, mocą wzbierającej siły zdławionej w czasie działania, każe, gdy raz myśl nasza znajdzie się w spoczynku, wypływać wspomnieniu zniewelowanemu z innymi przez ucisk roztargnienia i zrywać się, dlatego że bez naszej wiedzy zawierało ono jakiś szczególny urok, spostrzeżony aż po dwudziestu czterech godzinach. I może nie ma też aktu równie swobodnego, bo jest on jeszcze wyzuty z przyzwyczajenia, z tej jakby manii umysłowej, która w miłości sprzyja wyłącznemu odnawianiu obrazu pewnej osoby.

Było to właśnie nazajutrz po dniu, w którym ujrzałem defilujący nad morzem orszak młodych dziewcząt. Zapytywałem o nie gości hotelowych, bywających prawie co rok w Balbec. Nie mogli mnie objaśnić. Później fotografia wytłumaczyła mi czemu. Któż by mógł teraz poznać w nich, wyrosłych — od niedawna — z wieku, gdy człowiek zmienia się tak kompletnie, któż by mógł w nich poznać ową jeszcze zupełnie dziecinną, bezpostaciową i rozkoszną bryłę małych dziewczynek, które kilka lat wprzód widywało się siedzące w krąg na piasku dokoła namiotu; rodzaj białej i mglistej konstelacji, gdzie o ile by się rozróżniło jakąś parę bardziej błyszczących oczu, jakąś sprytną twarzyczkę, włosy blond, to jedynie po to, aby je zgubić i zatracić rychło w niewyraźnej i mlecznej mgławicy.

Bez wątpienia, w owych jeszcze tak niedawnych latach, nie wizja grupy była mętna — jak wczoraj za pierwszym zjawieniem się dziewcząt przede mną, ale sama grupa. Wówczas zbyt młode jeszcze dzieciaki znajdowały się na tym elementarnym stopniu kształtowania, kiedy osobowość nie wycisnęła jeszcze piętna na każdej twarzy. Jak owe pierwotne organizmy, w których jednostka ledwo że istnieje, raczej mieszcząc się w krzewie polipów niż w każdym z polipów, które go składają, tak one skupiły się razem. Czasem któraś przewracała swoją sąsiadkę i wówczas szalony śmiech — jedyny przejaw ich osobowego życia — wstrząsał wszystkimi naraz, zacierając, mieszając te niezdecydowane i drgające twarze w galarecie jednego migotliwego i drżącego grona. Na starej fotografii, którą miały mi dać kiedyś i którą zachowałem, dziecięca gromadka zawiera już tę samą liczbę uczestniczek co później żeński ich orszak; czuć, że już musiały tworzyć na plaży osobliwą plamę, zmuszającą, by na nie popatrzeć; ale indywidualnie można je tam rozpoznać jedynie w drodze analizy, biorąc w rachubę wszystkie możliwe za młodu przeobrażenia, aż do granicy, kiedy te zrekonstruowane kształty zaszyłyby na inną osobowość, którą również trzeba utożsamiać i której piękna twarz (wnosząc z analogii wzrostu i kręjących się włosów) mogła być niegdyś owym pomarszczonym i karłowatym grymasem, jaki przedstawiała fotografia. Dystans przebieżony w krótkim czasie przez fizyczne cechy każdej z dziewcząt czynił z tych cech kryterium bardzo mgliste; że zaś z drugiej strony zaznaczało się już to, co miały wspólnego i jakby zbiorowego, zdarzało się czasem ich najlepszym przyjaciółkom, że brały na fotografii jedną z nich za drugą; wątpliwość dało się ostatecznie przeciąć jedynie szczegółem ubioru, co do którego przynależności istniała jakaś pewność. Z owej epoki, tak różnej od dnia, gdym ujrzał te dziewczęta na plaży — epoki tak różnej, a przecież tak bliskiej — zachowały one jeszcze śmiech — jak się o tym przekonałem wczoraj — ale śmiech niebędący już przerywanym i prawie automatycznym śmiechem dziecięctwa, spazmatycznym odprężeniem, jakie niegdyś kazało co chwilę dawać tym główkom nurka, tak jak gromadki płotek w Vivonne rozpraszały się i znikwały, aby się skupić w chwilę później; teraz, fizjonomie ich zyskały panowanie nad sobą, oczy ich wlepione były w cel, do którego dążyły; i trzeba było mego wczorajszego niezdecydowania i drżenia pierwszych wrażeń, aby pomieszać — jak to czyniła dawna ich wesołość i stara fotografia — zindywidualizowane już dziś i rozłączone człony bladego polipa.

Bez wątpienia, niejednokrotnie mijając jakieś ładne dziewczęta, obiecywałem sobie, że się je postaram odszukać. Zwykle nie zjawiały się więcej; zresztą pamięć, rychło zapominająca o ich istnieniu, niełatwo odnalazłaby ich rysy; oczy nasze nie poznałyby ich może, i już przesunęły się przed nami inne dziewczęta, których nie ujrzemy również. Ale czasami — i to miało się zdarzyć z zuchwałą gromadką — przypadek sprowadza je uparcie ku nam. Wówczas wydaje się nam on piękny, bo poznajemy w nim niby jakiś początek zorganizowania, wysiłku w komponowaniu naszego życia; bez tego przypadku mogliśmy w samym początku tak snadnie zapomnieć — jak tylu innych — obrazów,

które kiedyś będziemy uważali za nasz los; on czyni nam ich wierną pamięć łatwą, nieuchronną, a niekiedy bolesną — po przerwach pozwalających mniemać, iż przestaniemy pamiętać.

Pobył Roberta dobiegał już końca. Nie odnalazłem swoich dziewcząt na plaży. Saint-Loup za krótko był popołudniu w Balbec na to, aby się móc nimi zająć i starać się z nimi zapoznać na moją intencję. Wieczorem był wolniejszy i nadal zabierał mnie często do Rivebelle. Zdarzają się w takich restauracjach, jak w ogrodach publicznych i w pociągach, ludzie o wyglądzie na pozór banalnym, a których nazwisko zdziwi nas, skoro, spytawszy o nie przypadkiem, odkryjemy, że ów obcy nie jest, jak sądziliśmy, byle kim, ale ni mniej ni więcej tylko ministrem lub księciem, o których słyszeliśmy tak często. Już parę razy w Rivebelle widzieliśmy z Robertem człowieka wysokiego wzrostu, bardzo muskularnego, o regularnych rysach, z siwiejącą brodą, o zamyślonym spojrzeniu, utkwionym pilnie w próżni. Siadał do stołu, gdy wszyscy zaczynali się rozchodzić. Jednego wieczora, kiedyśmy spytali gospodarza, kto jest ten nieznan, samotny i zapóźniony gość, odparł: „Jak to, nie znacie panowie sławnego malarza Elstira?”. Swann wspominał raz przy mnie to nazwisko, zapomniałem zupełnie z jakiej okazji; ale przeoczenie pamięci, tak jak przeoczenie członu zdania przy lekturze, stwarza często nie niepewność, ale rozkwit przedwczesnej pewności. „To przyjaciel Swanna, artysta bardzo znany, bardzo niepospolity”, rzekłem do Roberta. Natychmiast przebiegła obu nas, niby dreszcz, myśl, że Elstir jest wielkim artystą, sławnym człowiekiem; a potem, że mieszając nas z innymi gośćmi, nie domyśla się wzruszenia, w jakie nas wprawia myśl o jego talencie. Zapewne to, że on nie wie o naszym podziwieniu i o tym, iż znamy Swanna, nie byłoby nam tak przykre, gdybyśmy nie byli w miejscu kąpielowym. Ale tkwiąc jeszcze w wieku, gdy entuzjazm nie umie zachować milczenia, i zanurzeni w życiu, w którym incognito jest dławiącą udręką, skreśliliśmy — podpisując się nazwiskami — list, gdzie w dwóch gościach siedzących o parę kroków od niego, zdradziliśmy Elstirowi gorących wielbicieli jego talentu, przyjaciół jego bliskiego przyjaciela Swanna, i prosiliśmy, aby nam pozwolił wyrazić nasze uwielbienie. Garson zaniósł tę epistołę sławnemu człowiekowi.

Co się tyczy sławy, Elstir nie był może jeszcze wówczas tak sławny jak to utrzymywał właściciel lokalu i jak stał się zresztą w niewiele lat później. Ale był jednym z pierwszych mieszkańców tej restauracji, wówczas gdy była jeszcze rodzajem fermy, i sprowadził tam kolonię artystów (którzy zresztą wszyscy wyemigrowali, z chwilą gdy ferma, gdzie się jadało na świeżym powietrzu w skromnej altanie, stała się eleganckim zakładem; sam Elstir bywał w tej chwili w Rivebelle jedynie z powodu nieobecności żony, z którą mieszkał opodal). Ale wielki talent, nawet nie całkiem jeszcze uznany, nieodzownie ściąga jakieś objawy podziwu, które właściciel fermy mógł odgadnąć w pytaniach niejednej przejeżdżającej Angielki, chciwiej informacji co do sposobu życia Elstira, lub w ilości listów, jakie malarz otrzymywał z zagranicy. Wówczas dopiero pryncypał zauważył, że Elstir nie lubi, aby mu przeszkadzano, gdy pracuje; że wstaje w nocy, aby kazać młodemu modelowi pozować nago nad morzem, kiedy jest księżyc; i powiedział sobie, że tyle trudu nie jest stracone, ani też podziw turystów bezzasadny, kiedy poznał na obrazie Elstira drewniany krzyż stojący u wjazdu do Rivebelle.

— To ten sam — powiedział sobie zdumiony. — Są cztery kawałki drzewa! Ba! ale bo też on sumiennie pracuje.

I nie wiedział, czy mały „wschód słońca nad morzem”, który Elstir mu darował, nie jest wart krocie.

Ujrzelśmy, jak malarz czyta nasz list, kładzie go do kieszeni, je dalej, każe sobie podać rzeczy, gotuje się do wyjścia. Byliśmy tak pewni, żeśmy go urazili swoim krokiem, iż bylibyśmy pragnęli teraz (jak przedtem baliśmy się tego) wyjść niezauważeni przez artystę. Nie myśleliśmy ani chwili o tym, co by się nam powinno wydać najważniejsze, mianowicie, że nasz entuzjazm dla Elstira — o którego szczerości nie pozwolilibyśmy nikomu wątpić i na którego świadectwo moglibyśmy w istocie podać nasz oddech przerwany oczekiwaniem, nasze pragnienie zrobienia czegoś trudnego lub heroicznego dla tego genialnego człowieka — nie był, jak myśmy to sobie wyobrażali, podziwem, skoro nigdy nie widzieliśmy żadnego obrazu Elstira; nasze uczucie mogło mieć za przedmiot abstrakcję „wielkiego artysty”, nie zaś dzieło, które nam było nieznanne. Był to co najwyżej podziw w próżni, duchowa rama, sentymentalne rusztowanie zachwyty bez treści, to

znaczy coś równie nierozłącznie zrośniętego z dzieciństwem, jak pewne organy nieistniejące już u dorosłego człowieka; byliśmy jeszcze dziećmi. Tymczasem Elstir dochodził do drzwi, kiedy nagle skręcił i podszedł do nas. Przejął mnie rozkoszny strach, taki, jakiego nie byłbym odczuł w kilka lat później, ponieważ w miarę jak wiek zmniejsza zdolność odczuwania tego rodzaju wzruszeń, wyrobienie światowe odejmuje wszelką chęć wywoływania równie niezwykłych okazji.

W niewielu słowach, jakie Elstir wymienił z nami, siadając przy stole, nie odpowiedział mi ani razu, ilekroć zagadnąłem go o Swanna. Zacząłem sądzić, że go nie zna. Niemniej zaprosił mnie, abym go odwiedził w jego pracowni w Balbec. Zaproszenie to, które nie dotyczyło Roberta, zyskałem sobie przez kilka słów pozwalających malarzowi przypuszczać, że kocham sztukę. Nie osiągnęłoby tego może polecenie Swanna, gdyby Elstir żył z nim blisko (gdyż udział bezinteresownych uczuć większy jest w życiu niż się przypuszcza). Malarz rozwinął dla mnie uprzejmość, w tym samym stopniu wyższą od uprzejmości Saint-Loup, w jakim ta była wyższa od uprzejmości jakiegoś mieszczucha. Przy uprzejmości artysty dworność wielkiego pana, choćby najbardziej urocza, robi wrażenie aktorstwa, udania. Saint-Loup starał się czarować, Elstir lubił dawać, udzielać się. Wszystko, co posiadał, idee, dzieła i resztę — którą cenil o wiele mniej — oddałby z radością komuś, kto by go zrozumiał. Ale z braku znośnego towarzystwa żył samotnie, jak odludek, co ludzie światowi nazywali pozą i złym wychowaniem, władze „duchem niepewnym”, sąsiedzi bzikiem, rodzina egoizmem i pychą.

Artysta, Samotnik

I z pewnością w pierwszych czasach Elstir z zadowoleniem myślał w swojej samotności, iż za pomocą swoich dzieł zwraca się na odległość — dając im wyższe pojęcie o sobie — do tych, co go nie docenili lub urazili. Może wówczas żył samotnie nie przez obojętność, lecz przez miłość ludzi, i jak ja niegdyś wyrzekłem się Gilberty, aby się jej zjawić pewnego dnia pod wdzięczniejszą postacią, tak on przeznaczał swoje dzieło dla pewnych ludzi jako powrót do nich, w którym, nie widując jego samego, będą go kochali, podziwiali, mówili o nim. Takie wyrzeczenie się — zamknięcie się chorego, mnicha, artysty, bohatera — nie zawsze jest całkowite z początku, kiedy je postanawiamy w naszej dawnej duszy i zanim ono samo oddziała znowuż na nas. Ale jeżeli Elstir pragnął tworzyć pod kątem kilku osób, tworząc, żył dla siebie samego, z dala od społeczeństwa, któremu stał się obojętny; nawyk samotności wszczepił mu upodobanie w niej, jak się dzieje z każdą wielką rzeczą, której baliśmy się zrazu, wiedząc, że jest nie do pogodzenia z mniejszymi, do których byliśmy przywiązani i których ona nie tyle nas pozbawia, ile nas od nich odstręcza. Nim tę samotność poznamy, całą naszą troską jest wiedzieć, w jakiej mierze zdołamy ją pogodzić z pewnymi przyjemnościami, które przestają być przyjemnościami, z chwilą gdyśmy ją poznali.

Elstir niedługo rozmawiał z nami. Obiecywałem sobie zajść do jego pracowni w ciągu najbliższych dni, ale nazajutrz po tym wieczorze, kiedy towarzyszył babce na sam koniec promenady w stronę urwisk Canapville, w powrotnej drodze, na rogu jednej z uliczek wychodzących prostopadle na plażę, minęliśmy się z młodą panią, która z głową spuszczoną niby zwierzę przemocą zaganiane do obory, trzymając „kluby” do golfa, szła przed swoją władzą, prawdopodobnie swoją „Angielką” lub „Angielką” jednej z przyjaciółek, podobną do portretu *Jeffries* Hogartha, z cerą tak czerwoną, jakby jej ulubionym napojem był raczej gin niż herbata, i z czarnym przecinkiem resztki tabaki, przedłużającym wąsik siwy, ale dość obfity. Idąca przed nią panią podobna była do owej dziewczyny z małej gromadki, która pod czarnym „polo” miała roześmiane oczy na nieruchomej i pucołowatej twarzy. Otóż ta, którąśmy spotkali teraz, miała też czarne „polo”, ale zdawała mi się jeszcze ładniejsza; linia nosa była prostsza, nasada szersza i bardziej mięsista. Następnie tamta dziewczyna zdawała mi się dumna i blada, ta miała minę pogwałconego dziecka i cerę różową. Jednakże ponieważ prowadziła taki sam rower i nosiła takie same reniferowe rękawiczki, uznałem, że różnice wynikły może z perspektywy i z okoliczności; mało bowiem było prawdopodobne, aby się znalazła w Balbec druga dziewczyna o twarzy mimo wszystko tak podobnej, jednocząca te same szczegóły stroju. Rzuciła w moją stronę szybkie spojrzenie; następnego dnia, kiedy to ujrzałem na plaży małą gromadkę, a nawet później, kiedy to poznałem wszystkie składające ją dziewczęta, nigdy nie miałem zupełnej pewności, czy która z nich — nawet najpodobniejsza do niej dziewczynka z rowerem

— była ową istotą ujrzaną wieczorem na końcu plaży, na rogu ulicy, niezbyt, ale zawsze trochę, odmienną od tej, którą zauważyłem w gromadce.

Począwszy od tego popołudnia, ja, który w poprzednich dniach myślałem jedynie o „dużej”, zacząłem się interesować tą z „kubami” do golfa, przypuszczalną panną Simonet. Idąc z tamtymi, przystawała często, zmuszając przyjaciółki, które zdawały się bardzo ją szanować, do zatrzymania się również. I w ten sposób widzę ją jeszcze teraz, przystającą co chwila z oczami błyszczącymi pod swoim „polo”; widzę ją niby sylwetkę na ekranie, jaki stwarzało w oddali morze; oddzieloną ode mnie czasem, jaki upłynął od owej chwili, niby czystą i lazurową przestrzenią; pierwszy i bardzo drobny w moim wspomnieniu, upragniony, ścigany, potem zapomniany, potem odnaleziony obraz twarzy, którą od owego czasu często rzutowałem w przeszłość, aby móc sobie powiedzieć o młodej dziewczynie znajdującej się w moim pokoju: „To ona!”.

Ale najbardziej może pragnąłem znać dziewczynę z cerą geranii i zielonymi oczami. Którą bądź zresztą w danym dniu wołałbym ujrzeć, inne wystarczały i bez niej, aby mnie wzruszyć. Pragnienie moje, zwracając się raz ku tej, raz ku innej, wciąż — jak to pierwszego dnia czyniła moja mętna wizja — łączyło je, stwarzało z nich osobny światek, ożywiony wspólnym życiem, które było zresztą ich ambicją. Stając się przyjacielem jednej z nich, wszedłbym — niby wyrafinowany poganin lub skrupulatny chrześcijanin u barbarzyńców — w odmładzające społeczeństwo, w którym panowało zdrowie, nieświadomość, rozkosz, okrucieństwo, aintelektualizm i radość.

Babka, której opowiedziałem spotkanie z Elsrirem, ucieszyła się z korzyści duchowej, jaką mógłbym znaleźć w jego przyjaźni; toteż uważała za niedorzeczne i niezbyt uprzejme, że jeszcze nie złożył mu wizyty. Ale ja myślałem tylko o małej gromadce: niepewny godziny, gdy dziewczęta będą przechodziły promenadą, nie śmiałem się oddalić. Babka dziwiła się także mojej elegancji, bo nagle przypomniałem sobie o garderobie, która dotąd spoczywała w kufrze. Kładłem co dzień inne ubranie i nawet napisałem do Paryża, aby mi przysłano nowe kapelusze i krawaty.

Życie w kąpielisku takim jak Balbec wiele zyskuje na uroku, jeżeli twarz młodej dziewczyny, sprzedającej muszle, ciastka lub kwiaty, odmalowana żywymi kolorami w naszej myśli, staje się nam co rano celem owych próżniaczych i promiennych dni, jakie spędzamy na plaży. Dni te, mimo iż bezczynne, są wówczas przez to właśnie żwawe jak dni pracy, zaostrome, namagnesowane, sprężone lekko ku najbliższej chwili, w której kupując babki śmietankowe, róże, amonity, będziemy się rozkoszowali kolorami rozpostartymi na kobiecej twarzy tak czysto jak na kwiecie. Ale z tymi sprzedawczyniami można bodaj rozmawiać, co nam oszczędza dorabiania — jak w obliczu portretu — wyobrażnią innych rysów poza tymi, jakie nam nastrocza proste wrażenie wzrokowe, odtwarzania ich życia, przeceniania sobie jego uroku; a zwłaszcza, właśnie dlatego że się z nimi rozmawia, można się dowiedzieć, gdzie i o jakiej godzinie można je spotkać. Nic podobnego z gromadką moich dziewcząt! Zwyczajnie były mi obce; kiedy więc w pewne dni nie widziałem ich, wówczas, nie znając przyczyn tej nieobecności, dochodziłem, czy ona jest czymś stałym, czy te dziewczęta zjawiają się tylko co drugi dzień lub w taką a taką pogodę, czy też są dni, gdy się nie zjawiają wcale. Wyobrażałem sobie zawczasu, że jestem z nimi w przyjaźni i że pytam: „Czemu was nie było wtedy a wtedy?” — „A, bo to była sobota, a w sobotę nie przychodzimy nigdy, bo...”. Gdybyż to można było tak po prostu wiedzieć, że w smutną sobotę daremnie się upierać, że można przebiegać plażę we wszystkich kierunkach, wysiadywać przed cukiernią, udawać, że się je ciastko z kremem, wstępować do handlarza osobliwości, czekać godziny kąpeli, koncertu, przyplwy morza, zachodu słońca, nocy, nie ujrawszy upragnionej gromadki. Ale ów nieszczęsny dzień powtarzał się może nie jeden raz w tygodniu. Przypadał może nie koniecznie w sobotę. Może wpływały nań pewne warunki atmosferyczne, może były mu zupełnie obce. Ileż ciepłych, ale nie pogodnych — obserwacji trzeba zebrać co do nieregularnych na pozór ruchów owych nieznanych światów, nim się człowiek zdoła upewnić, że się nie dał omamić przypadkowemu zbiegowi okoliczności, że nasze przewidywania nie będą zawiedzione; nim potrafimy wyodrębnić pewne prawidła tej serdecznej astronomii, nabyte ceną okrutnego doświadczenia. Przypominając sobie, że kiedyś tego dnia w tygodniu nie było ich, powiedziałem sobie, że nie przyjdą, że daremnie jest sterczeć na plaży. I właśnie spotykałem je! W zamian za to pewnego dnia, który — o ile można było wnosić, iż stałe prawa okre-

ślają powrót tych konstelacji — powinien być pomyślny, one nie przychodziły. Ale do owej pierwszej niepewności, czy je ujrzę danego dnia, przybywała inna, poważniejsza, czy je ujrzę w ogóle kiedy; ostatecznie nie wiedziałem, czy mają jechać do Ameryki, czy wracać do Paryża. To wystarczyło, abym je zaczął kochać. Jakaś osoba może się nam podobać. Ale aby rozpuścić ten smutek, to poczucie czegoś nieodwołalnego, ten ucisk serca zwiastujący miłość, trzeba ryzyka niemożliwości. I może raczej to ryzyko niż osoba jest przedmiotem, który miłość stara się trwożliwie ogarnąć. Tak działały już te wpływy, które się powtarzają w ciągu kolejnych miłości, lub bodaj odnawiały się w ciągu moich miłości. Mogą się zdarzyć (wówczas raczej w warunkach wielkiego miasta) dla jakiejś gryzетки, o której nie wiemy, kiedy ma wolny dzień i niepokoimy się, nie ujrawszy jej w bramie magazynu. Może te wzruszenia są nieoddzielne od miłości; może wszystko, co było cechą pierwszego uczucia, towarzyszy następnym siłą wspomnienia, sugestii, nawyku i poprzez kolejne fazy naszego życia daje jego rozmaitym postaciom ogólny charakter.

Chwytałem się wszystkich pozorów, aby chodzić na plażę w godzinach, gdy mi się spodziewałem spotkać gromadkę dziewcząt. Spozstrzegłszy je raz podczas naszego śniadania, spóźniałem się teraz na śniadanie, czekając bez końca na plaży, czy one się nie zjawią; badając oczami lazur szyb przez ten krótki czas, który pozostawałem w jadalni; wstając na długo przed deserem, aby ich nie chybić, w razie gdyby się przechadzały o innej godzinie, i wściekając się na babkę, bezwiednie złośliwą, kiedy mi kazała zostać z sobą w porze, która mi się zdawała pomyślna. Staralem się przedłużyć horyzont, ustawiając krzesło w poprzek; jeżeli przypadkowo spostrzegłem którąkolwiek z tych dziewcząt — tak jakby one wszystkie miały jakąś wspólną istotność — miałem uczucie takie, jakbym w migotliwej i diabolicznej halucynacji widział na wprost siebie projekcję marzenia, wrogiego, a mimo to namiętnie upragnionego, które przed chwilą jeszcze istniało tylko w moim mózgu, żyjąc w nim zresztą nieustannie.

Nie kochałem żadnej z dziewcząt, kochając wszystkie; mimo to możliwość ich spotkania była w moim życiu jedynym rozkosznym czynnikiem; rodziła we mnie owe nadzieje, w których kruszyłyby się wszystkie przeszkody, nadzieje często wyradzające się we wściekłość, o ilem nie ujrzał tych dziewcząt. W tej chwili przesłaniały mi babkę; wszelka podróż byłaby mi szczęściem, gdyby mnie wiodła do miejsca, gdzie by się one znajdowały. Ich czepiała się rozkosznie moja myśl, kiedy mi się sądziło, że myślę o czym innym lub o niczym. Ale kiedy, nawet nie wiedząc o tym, myślałem o nich, widziałem w nich — jeszcze mniej świadomie — pagórkowate i błękitne falowanie morza, profil pochodni nad morzem. Owo morze spodziewałem się odnaleźć, gdybym pospieszył do jakiegoś miasta, gdzie by one były. Najbardziej wyłączna miłość jakiejś osoby jest zawsze miłością czegoś innego.

Ponieważ teraz interesowałem się mocno golfem i tenisem i marnowałem sposobność patrzenia na pracę Elstira oraz rozmowy z artystą, babka, która zaliczała Elstira do największych, okazywała mi wzgardę, wynikłą, wedle mojego poczucia, z horyzontów nieco ciasnych. Doświadczyłem tego niegdyś na Polach Elizejskich i lepiej zrozumiałem to później, że kochając się w kobiecie, nasycamy ją jedynie stanem własnej duszy; tym samym ważna jest nie wartość kobiety, ale głębina tego stanu; a wzruszenia, jakie nam daje przeciętna gąska, mogą wznieść do naszej świadomości cząstki nas samych sekretniejsze, bardziej własne, odleglejsze, bardziej zasadnicze, niżby to uczyniła przyjemność rozmowy z człowiekiem niezwykłym lub nawet pełna podziwu kontemplacja jego dzieł.

Musiałem w końcu usłuchać babki, z tym większą przykrością, że Elstir mieszkał dość daleko od plaży, w jednej z najnowszych dzielnic Balbec. Upał kazał mi wsiąść do tramwaju, który przejeżdżał ulicą de la Plage. Aby sobie wyobrazić, że jestem w starożytnym królestwie Cymerejczyków, w ojczyźnie może króla Marka lub na dawnym miejscu lasu Broceliandy, starałem się nie patrzeć na tandetny przepych domów rozciągających się przede mną, między którymi willa Elstira była może najwspanialej brzydka. Wynajął ją mimo to, bo ze wszystkich, jakie były w Balbec, w niej jednej znalazł obszerną pracownię.

Wciąż nie patrząc, przebyłem ogród, gdzie był w miniaturze trawnik taki, jak u byle burżuazji w okolicy Paryża — na nim statuetka dwornego ogrodniczka, szklane kule, w których można się było przejrzeć, rabaty begonii oraz altanka, gdzie stały ogrodowe fotele koło żelaznego stołu. Ale po wszystkich tych akcesoriach nacechowanych miejską brzydota, nie zwracałem już uwagi na czekoladowe sztukaterie, kiedy mi się znalazł

w pracowni; czułem się doskonale szczęśliwy, świadom, iż wszystkie szkice znajdujące się dokoła mnie będą mnie mogły wnieść do poetyckiego i radosnego poznania rozmaitych form, których dotąd nie wyodrębniłem z obrazu wszechrzeczy. I pracownia Elstira wydała mi się niby laboratorium jakiegoś nowego stworzenia świata, gdzie z chaosu, jakim są wszystkie rzeczy, które widzimy, artysta wydobył, malując je na rozmaitych płótnach, rozstawionych we wszystkich kierunkach, tu falę morską miazdzącą z gniewem o piasek swoją fioletową pianę, ówdzie młodego człowieka w białym flanelowym ubraniu, oparteo o pomost. Kurtka młodego człowieka i pienista fala nabrały nowej godności przez fakt że istniały nadal, mimo że pozbawione tego, co uchodziło za ich rację bytu, ile że fala nie mogła już zmoczyć, ani kurtka odziać nikogo.

W chwili gdy wszedł, twórca dawał właśnie pędzlem ostatnie dotknięcia słońcu w momencie zachodu.

Story były zapuszczone prawie ze wszystkich stron, pracownia była dość chłodna i — z wyjątkiem jednego miejsca, gdzie jasny dzień opierał o ścianę swoją lśniącą i lotną dekorację — ciemna; otwarte było jedynie małe, prostokątne, okolone kapryfolium okno, z którego poprzez rabaty kwiatów widać było aleję; tak iż atmosfera pracowni była przeważnie mroczna, przezroczysta i zwarta, ale wilgotna i błyszcząca w miejscach, gdzie wylańało ją światło, niby blok skalnego kryształu, którego jedna powierzchnia, już obrobiona i ogladzona, błyszczy tu i ówdzie jak lustro i mieni się tęczowo. Gdy Elstir na moją prośbę dalej malował, ja krążyłem w tym światłocieniu, zatrzymując się to przed jednym, to przed innym obrazem.

Płótna, które mnie otaczały, przeważnie nie należały do tych dzieł Elstira, które najbardziej byłbym pragnął widzieć, obrazów z jego pierwszej i drugiej manieri, jak mówił angielski miesięcznik artystyczny, wałęsający się na stole w salonie w Grand Hotelu; manieri mitologicznej oraz tej, w której artysta uległ wpływowi Japonii, obu cudownie reprezentowanych — jak powiadano — w zbiorach pani de Guermentes. Oczywiście to, co znajdowało się w jego pracowni, to były prawie wyłącznie pejzaże morskie, malowane tu, w Balbec. Ale mogłem poznać, że urok każdego z nich polegał na przetworzeniu rzeczywistości podobnym temu, co w poezji nazywa się metaforą, i że, o ile Bóg Ojciec stworzył rzeczy, nazywając je, Elstir stwarzał je na nowo, odejmując im nazwę lub dając inną. Nazwy oznaczające rzeczy odpowiadają zawsze jakiemuś pojęciu intelektualnemu, które jest obce naszym prawdziwym wrażeniom i każe nam eliminować z nich wszystko, co się nie łączy z owym pojęciem.

Czasami w moim oknie w hotelu w Balbec — rano, kiedy Franciszka rozsuwała opony skrywające światło, wieczorem, gdy czekał chwili wyjazdu z Robertem — zdarzało mi się, dzięki grze światła, wziąć ciemniejszą partię morza za odległy brzeg lub z radością patrzeć na błękitną i płynną strefę, nie wiedząc, czy jest morzem czy niebem. Rychło intelekt mój przywracał między elementami granicę, zmienioną moim wrażeniem. W ten sposób zdarzało mi się w Paryżu, w swoim pokoju, słyszeć kłótnie, prawie rozruchy, aż zdołałem sprowadzić ów hałas do jego przyczyny — na przykład do powozu, którego turkot się zbliżał. Wykluczałem wówczas ostre i kłótniwe dźwięki, które moje ucho naprawdę słyszało, ale o których moja inteligencja wiedziała, że koła ich nie wydają. Ale dzieło Elstira było stworzone z owych rzadkich chwil, w których widzi się naturę poetycko — taką, jak jest. Jedną z jego najczęstszych metafor w widokach morza, znajdujących się w tej chwili w jego pracowni, była właśnie ta, która, porównując ziemię z morzem, usuwała między nimi wszelki przedział. To właśnie porównanie, milcząco i niestrudzenie powtarzane na tym samym płótnie, dawało mu ową wielopostaciową i potężną jedność, przyczynę — nie zawsze zresztą uświadomioną — entuzjazmu, jaki w pewnych miłośnikach budziło malarstwo Elstira.

W obrazie na przykład przedstawiającym port Carquethuit (obrazie, który skończył przed kilku dniami i któremu się długo przyglądałem), Elstir przygotował do tego rodzaju metafory umysł widza, posługując się dla miasteczka jedynie terminami morskimi, dla morza miejskimi. Czy że domy zasłaniały część portu, basen dla uszczelniania statków, czy morze wciskało się zatoką w ziemię (jak się to zdarza nieustannie w okolicach Balbec) poza wysuniętym cyplem, na którym wznosiło się miasto, ponad dachy wyrastały maszty (tak jakby to były kominy lub dzwonnice) czyniące z okrętów, do których należały, coś miejskiego, zbudowanego na łądzie. Wrażenie to pomnażały inne statki, stojące wzdłuż

grobli, ale w szeregach tak ciasnych, że ludzie rozmawiali tam z pokładu na pokład, tak iż nie można było dojrzec odstępu między statkami ani znajdującej się między nimi wody. W ten sposób ta flotylla rybacka mniej w naszych oczach należała do morza niż na przykład kościoły w Criquebec, które w oddali, otoczone ze wszystkich stron wodą, bo widziane bez miasta, w rozpyleniu słońca i fal, zdawały się wychodzić z wód, wydmuchane z alabastru lub piany i, ujęte pasem pstrej tęczy, tworzyły nierealny i mistyczny obraz. Na pierwszym planie plaży malarz umiał przyzwyczaić nasze oczy do tego, aby nie rozróżniały stałej granicy, bezwzględnego przedziału między ziemią a oceanem. Ludzie spychający statki na morze biegli zarówno w wodzie jak po mokrym piasku, odbijającym już kadłuby statków tak jakby był wodą. Samo morze nie wznosiło się regularnie, ale naginało się do kaprysów wybrzeża, które perspektywa wycinała jeszcze bogaciej, tak iż okręt na pełnym morzu, wpół ukryty przez niedokończoną budowę arsenału, zdawał się żeglować wśród miasta; kobiety łowiące krewetki w skałach robiły wrażenie — ponieważ były otoczone wodą i przez spadek, jaki od okrężnej bariery skał obniżał plażę (z dwóch stron najbliższych ziemi) do poziomu morza — że się znajdują w grocie morskiej sklepionej łodziami i falami, otwartej i chronionej pośród wód rozstępujących się cudem.

Jeżeli cały obraz dawał wrażenie owych portów, gdzie morze wchodzi w ziemię, gdzie ziemia jest już morska, a ludność ziemnowodna, siła morskiego żywiołu buchała wszędzie; koło skał, u wejścia na molo, gdzie morze było wzburzone, z wysiłków majtków i z nachylenia łodzi, kładących się pod ostrym kątem na wprost spokojnej prostopadłości pomostu, kościoła i domów w mieście, dokąd jedni wracali, skąd drudzy jechali na połów, czuło się, że ci majtkowie kłusują ostro po wodzie niby na gorącym i chybkim zwierzęciu, którego skoki zrzuciłyby ich na ziemię, gdyby nie ich zręczność. Gromada letników wyjeżdżała wesoło w barce wstrząsanej niby kariolka; wesoły, ale uważny majtek prowadził ją jakby lejcami, dzierzył chybki żagiel, każdy trzymał się dobrze swego miejsca, aby nie zanadto ciążył z jednej strony i nie wywrócić, i tak biegło się przez rozslonecznione pola w cieniste miejsca, zjeżdżając po pochyłościach. Był to piękny poranek, mimo niedawnej burzy. I nawet czuło się jeszcze potężne kołysanie, neutralizowane piękną równowagą nieruchomych łodzi, cieszących się słońcem i chłodem, w partiach, gdzie morze było tak spokojne, że odbicia miały niemal więcej konsystencji i realności niż rozpylone działaniem słońca kadłuby statków, które perspektywa wpychała na siebie wzajem. Lub raczej nie powiedziałoby się: inne partie morza. Bo między tymi partiami było tyleż różnicy co między jedną z nich a kościołem wylaniającym się z wody i statkami za miastem. Intelkt tworzył potem wspólny żywioł z tego, co było tu czarne od resztek burzy, dalej zupełnie jednakie z niebem i równie lśniące jak ono, ówdzie tak białe od słońca, od mgły i piany, tak zbite, tak ziemne, tak otoczone domami, że przywodziło na myśl jakąś kamienistą drogę lub śniegowe pole gdzie widziało się z przerażeniem okręt wznoszący się stromo lądem, niby powóz, który pluska się, wyjeżdżając z brodu. Ale po chwili, widząc na wysokiej i nierównej powierzchni chwiejące się statki, uświadamiałem sobie, że to jest — toż samo we wszystkich tych różnych postaciach wciąż jeszcze morze.

Mimo iż powiada się słusznie, że w sztuce nie ma postępu ani odkryć (istniejących w nauce) i że każdy artysta rozpoczyna rzecz na własny rachunek, przy czym indywidualnemu wysiłkowi nie mogą pomóc ani przeszkodzić niczyje inne wysiłki, trzeba uznać, iż w miarę jak sztuka wydobywa na jaw pewne prawa, z chwilą gdy przemysł je spospolitował, dawniejsza sztuka traci wstecz nieco swojej oryginalności. Od początków kariery Elstira, poznano, jak się to mówi, „cudowne” fotografie krajobrazów i miast. Jeżeli spróbujemy sprecyzować to, co amatorzy określają w danym wypadku tym epitetem, ujrzymy, że odnosi się on zazwyczaj do jakiegoś szczególnego aspektu rzeczy znanej, różnego od tych, pod jakimi nawykliśmy tę rzecz oglądać; szczególnego, a jednak prawdziwego, i który z tej przyczyny jest podwójnie przejmujący, ponieważ nas zadziwia, wyważa z naszych przyzwyczajzeń, a zarazem każe nam wejść w siebie, przypominając jakieś wrażenie. Na przykład jedna z owych „wspaniałych” fotografii objaśni nam prawo perspektywy, ukaże nam jakąś katedrę, którą nawykliśmy oglądać pośród miasta, zdjętą, przeciwnie, ze specjalnego punktu, skąd się wyda trzydzieści razy wyższa od domów, tworząc ostrogę nad rzeką, od której jest w rzeczywistości odległa. Otóż wysiłek Elstira, aby nie pokazywać rzeczy takimi, jak wiedział, że są, ale wedle owych optycznych złudzeń, tworzących naszą pierwotną wizję, doprowadził go właśnie do tego, aby uwydatnić pewne prawa



perspektywy, bardziej uderzające wówczas, bo sztuka odsłoniła je pierwsza. Rzeka przez swoje zakręty, zatoka przez pozorne zbliżenie się raf, robiły wrażenie, jakby żłobiły pośród równiny lub pośród gór jezioro absolutnie zamknięte ze wszystkich stron. W obrazie malowanym w Balbec w skwamy dzień letni, zaulek morza, zamknięty w granitowych różowych murach, zdawał się nie być morzem, zaczynającym się aż dalej. Ciągłość oceanu przypominały jedynie mewy, które wirując nad tym, co się widzowi zdawało kamieniem, wdychały, przeciwnie, wilgoć fali.

Inne prawa wylaniały się z tego samego płótna, jak lilipuci wdzięk białych żagli u stóp olbrzymich skał na błękitnym zwierciadle morza, gdzie były niby uśpione motyle; i pewne kontrasty między głębokością cieni a bladością światła. Te gry cieni, które fotografia również zbanalizowała, zainteresowały Elstira do tego stopnia, że dawniej lubował się w oddawaniu prawdziwych mirażów, gdzie zamek uwieńczony wieżą jawił się niby kolistą budowlą, wydłużająca się w wieżę na szczycie, a w dół w wieżę na wywrót, czy że niezwykła czystość pogody dawała odbijającemu się w wodzie cieniowi twardość i blask kamienia, czy że ranne mgły czyniły kamień równie mglistym jak cień. Tak samo poza morzem, za rzędem drzew, zaczynało się inne morze, zaróżowione zachodem słońca — i to było niebo. Wymyślając jak gdyby nowe ciała stałe, światło, uderzając kadłub statku, popychało go poza drugi w cieniu i układało niby stopnie kryształowych schodów powierzchnię w rzeczywistości płaską, a łamaną oświetleniem porannego morza. Rzeka przepływająca pod mostkami ujęta była z takiego punktu, że wydawała się całkiem zniekształcona; tu rozlana w jezioro, ówdzie zwężona do niteczki, gdzie indziej przerwana zaporą pagórka uwieńczonego lasem, gdzie mieszcuch idzie o zmierzchu odetchnąć wieczornym chłodem. I sam rytm tego zburzonego miasta utrwałała jedynie niezłomna prostopadłość wież, które nie biegły w górę, ale raczej — wedle ołowianki znaczącej kadencję niby w tryumfalnym marszu — zdawały się trzymać pod sobą w zawieszaniu mętniejszą masę domów spiętrzonych we mgle, wzdłuż zmiażdżonej i rozprutej rzeki. A ponieważ pierwsze prace Elstira datowały z epoki „ożywiania” krajobrazów obecnością jakiejś figury, przeto na skale lub w górach droga — owa na wpół ludzka część natury — ulegała jak rzeka lub ocean zaćmieniom perspektywy. I kiedy grzebień gór, mgła wodospadu lub morze nie pozwalały śledzić ciągłości dróżki, widocznej dla spacerującego, ale nie dla nas, mała ludzka osoba w niemodnym ubraniu, zgubiona w tej samotni, zdawała się często przystawać nad przepaścią, bo jej ścieżka tam się kończyła, podczas gdy o trzysta metrów wyżej, w tych świerkowych lasach, z rozkliwionym okiem i z uspokojonym sercem spostrzegaliśmy wąską biel jej piasku przyjaznego krokom wędrowca, gdy pośrednie zakręty skrył nam stok góry, okalając wodospad lub zatokę.

Wysiłek Elstira, aby się w obliczu rzeczywistości wyzucić ze wszystkich pojęć intelektu, był tym godniejszy podziwu przez to, że ów człowiek, który, biorąc pędzel w rękę, zdobywał się na niewiedzę, zapominał wszystkiego przez uczciwość — bo to co się wie, nie jest własne — posiadał właśnie wyjątkowo bogatą inteligencję. Kiedym mu wyznał zawód, jaki mi sprawił kościół w Balbec:

— Jak to — rzekł — zawiódł się pan na tej kruchcie! Ależ to najpiękniejsza Biblia w obrazach, jaką kiedy ludowi dane było czytać. Ta Święta Dziewica i wszystkie płaskorzeźby opowiadające jej życie to najtkliwszy, najbardziej natchniony wyraz owego długiego poematu adoracji i hołdu, jaki wieki średnie rozwinęły na chwałę Marii. I obok najdrobiazgowszej wierności w wykładzie świętych tekstów, gdyby pan wiedział, na jakie cudy delikatności zdobył się ten stary rzeźbiarz, ile głębokich myśli, co za rozkoszna poezja! Pomysł tej wielkiej zasłony, w której aniołowie niosą ciało Dziewicy, zbyt święte, aby się go ośmielili dotknąć wprost... (Powiedziałem Elstirowi, że ten sam temat powtarza się w Saint-André-des-Champs; Elstir widział fotografie kruchty tego kościoła, ale zwrócił mi uwagę, że zapał kmiotków, którzy biegają wszyscy naraz dokoła Marii, jest czymś innym niż powaga dwóch wielkich aniołów prawie włoskich, tak wysmukłych, tak słodkich); anioł, który unosi duszę Marii, aby ją zjednoczyć z jej ciałem; gest Elżbiety w spotkaniu z Marią, gdy dotyka łona Dziewicy, podziwiając jego brzemię; i napięte ramię położnej, wzbraniającej się nie dotknąwszy uwierzyć w Niepokalane Poczęcie, i przepaska rzucona przez Dziewicę świętemu Tomaszowi jako dowód zmartwychwstania; i ta zasłona, zerwana przez Marię z łona, aby nią okryć nagość syna, po którego jednej stronie

Kościół zbiera krew, likwor Eucharystii, gdy z drugiej Synagoga, której królestwo jest skończone, ma zawiązane oczy, trzyma wpół strzaskane berło i wraz z koroną spadającą jej z głowy, upuszcza tablice dawnego Prawa; i mąż który, pomagając w godzinie Sądu Ostatecznego młodej małżonce wyjść z grobu, przykłada jej rękę do własnego serca, aby ją uspokoić i dowieść, że to serce naprawdę bije, czy to nie jest bycze jako pomysł, czy to nie fajnie wymyślone? A anioł, który zabiera słońce i księżyc, już niepotrzebne, skoro powiedziane jest, iż światło krzyża będzie siedem razy mocniejsze od światła gwiazd; i drugi anioł zanurzający rękę w kąpieli Jezusa, aby sprawdzić, czy jest dość ciepła; i ten, co wychodzi z chmur, aby włożyć koronę na czoło Dziewicy; a wszystkie te, które, wychylając się z nieba, poprzez balustradę niebiańskiej Jeruzalem podnoszą ręce z przestrachu lub radości na widok mąk potępionych i szczęścia wybranych! Bo to są wszystkie kręgi nieba, masz pan tam cały gigantyczny poemat teologiczny i symboliczny. To szalone, to boskie, to tysiąc razy wyższe od wszystkiego, co pan zobaczysz we Włoszech, gdzie zresztą ten tympan dosłownie skopiowali o wiele mniejsi rzeźbiarze. Nie było epoki, gdzie by wszyscy byli genialni; wszystko to są błagi, to by była większa heca niż złoty wiek. Facet, który wyrzeźbił tę fasadę, wierz mi pan, był równie tęgi, miał idee równie głębokie jak ci, których pan najbardziej podziwia wśród dzisiejszych artystów. Pokazałbym to panu, gdybyśmy tam poszli razem. Są tam pewne słowa z nabożeństwa na dzień Wniebowstąpienia, przetłumaczone z subtelnością, jakiej żaden Redon nie dorównał.

Kiedy mi Elstir opisywał tę rozległą niebiańską wizję, pojmowałem, że tam jest ów „gigantyczny poemat teologiczny”, ale wówczas gdy moje spragnione oczy otwarły się przed tą fasadą, nie to w niej ujrzałem. Zacząłem Elstirowi mówić o owych wielkich posągach świętych, które, stojąc jak na szczudłach, tworzą rodzaj alei.

— Ta aleja wychodzi z głębi wieków, aby dojść do Chrystusa — rzekł. — To są z jednej strony jego przodkowie wedle ducha, z drugiej królowie Judei, jego przodkowie wedle ciała. Są tam wszystkie wieki. I gdybyś pan lepiej przyjrzał się temu, co pan nazywa szczudłami, mógłbyś wymienić tych, co na nich stoją. Bo pod nogami Mojżesza poznałby pan złotego cielca, pod nogami Abrahama tryka, pod nogami Józefa biesa, doradcę żony Putyfara.

Powiedziałem również Elstirowi, że się spodziewałem znaleźć budowlę *prawie perską* i że to było z pewnością jedną z przyczyn mego zawodu.

— Ale nie — odparł — jest w tym dużo prawdy. Niektóre partie są zupełnie wschodnie; jeden kapitel tak wiernie odtwarza temat perski, że trwałość wschodnich tradycji nie wystarcza, aby to wytłumaczyć. Rzeźbiarz musiał skopiować jakąś skrzynkę przywiezioną przez żeglarzy.

I w istocie, Elstir miał mi później pokazać fotografię kapitelu, gdzie ujrzałem pożerające się smoki, jak gdyby chińskie; ale w Balbec nie zauważyłem tego fragmentu w całości budowli, niepodobnej do tego, co mi przyrzekły słowa: „kościół prawie perski”.

Rozkosze intelektualne, jakich kosztowałem w pracowni Elstira, nie przeszkadzały mi czuć ciepłego werniksu, lśniącego półmroku pokoju i poprzez obrośnięte kapryfolium okienko, na zupełnie wiejskiej ścieżce, twardej suchości ziemi spalonej od słońca, które przesłaniała jedynie przejrzystość oddalenia i cienia drzew. Ale to wszystko otaczało nas jakby bez naszej wiedzy. Nieświadoma błogość, jaką mi sprawiał ten letni dzień, zwiększyła może swoim dopływem radość wywołaną *Portem w Carquethuit*.

Myślałem, że Elstir jest skromny, ale zrozumiałem, że się omylił, widząc, jak jego twarz obleka się smutkiem, kiedy dziękując mu, rzuciłem wyraz: „sława”. Ci, którzy uważają — jak Elstir — swoje dzieła za trwałe, przyzwyczajają się mieścić je w epoce, gdy oni sami będą tylko prochem. W ten sposób pojęcie sławy, zmuszając ich do zastanowienia się nad nicością, zasmuca ich, bo jest nieodłączne od pojęcia śmierci. Odmieniłem rozmowę, aby rozproszyć tę chmurę dumnej melancholii, jaką mimo woli zasnułem jego czoło.

— Radzono mi — rzekłem, myśląc o swojej dawnej rozmowie z panem Legrandin w przedmiocie, o którym rad bym usłyszeć zdanie Elstira — aby nie jechać do Bretanii, bo to jest niezdrowe dla natury już skłonnej do marzenia.

— Ależ nie — odparł — kiedy umysł jest skłonny do marzeń, nie trzeba go od nich odsuwać, ani mu ich dawkować. Jak długo będzie pan odwracał umysł od jego marzeń, tak długo ich nie pozna; będzie pan igraszką tysiąca złud, bo nie zrozumie pan ich przyrody.

Jeżeli trochę marzenia jest niebezpieczne, lekarstwem na to jest nie mniej marzenia, ale więcej marzenia, całe marzenie. Ważne jest dokładnie poznać swoje marzenia, aby już przez nie nie cierpieć; dokonywanie pewnego rozdziału między marzeniem a życiem jest nam tak często zbawienne, że myślę, czy nie powinno by się na wszelki wypadek uprawiać go zapobiegawczo, jak pewni chirurdzy twierdzą, że aby uniknąć możliwości przyszłego zapalenia wyrostka robaczkowego, trzeba by usuwać wyrostek u wszystkich dzieci.

Przeszliśmy z Elstirem w głąb pracowni, ku oknu, przez które za ogrodem widać było wąską poprzeczną drogę, prawie ścieżkę. Podeszliśmy tam, aby odetchnąć chłodniejszym powietrzem zbliżającego się wieczoru. Sądziłem, że jestem bardzo daleko od swojej gromadki dziewcząt: poświęcając na jeden raz nadzieję ich ujrzenia, usłuchałem w końcu prośby babki i wybrałem się do Elstira. Bo człowiek nie wie, gdzie się znajduje to, czego szuka, i często unika długo miejsca, dokąd, dla innych przyczyn, wszyscy nas zapraszają. Nie podejrzewamy, że tam ujrzelibyśmy właśnie istotę, o której myślimy. Patrzałem machinalnie na ścieżkę, która biegła tuż za pracownią, ale nie należała do Elstira. Naraz zjawiła się tam, idąc szybkim krokiem, owa młoda cyklistka w swoim „polo” na czarnych włosach, spuszczonej na pulchne policzki, z wesołymi i nieco natarczywymi oczami; i na tej błogosławionej ścieżce, nagle cudownej od słodkich obietnic, ujrzałem ją pod drzewami, zwracającą do Elstira przyjacielski uśmiech, tęczę łączącą dla mnie nasz ziemnowodny świat z regionami, które dotąd uważałem za niedostępne. Podeszła nawet, nie zatrzymując się, aby podać malarzowi rękę, przy czym ujrzałem, że ma pieprzyk na brodzie.

— Pan zna tę panienkę? — rzekłem do Elstira, rozumiejąc, że mógłby mnie jej przedstawić, zaprosić ją do siebie. I ta spokojna pracownia ze swoim sielskim widnokretem wypełniła się rozkosznym naddatkiem, jak zdarza się w jakimś domu, gdzie dziecko już się czuło dobrze i gdzie się dowiadyuje, że dzięki hojności, jaką mają piękne rzeczy i szlachetni ludzie w nieograniczonym mnożeniu swoich darów, czeka je co więcej wspaniały podwieczorek.

Elstir powiedział mi, że panienka nazywa się Albertyna Simonet. Nazwał mi także inne jej przyjaciółki, które mu opisałem na tyle dokładnie, że musiał je poznać. Popętniłem co do ich pozycji socjalnej błąd, ale nie w tym sensie jak zwykle w Balbec. Młodych sklepikarzy jeżdżących konno brałem tam łatwo za książąt. Tym razem przeniosłem w dwuznaczny światek panny z bogatego mieszczaństwa, z przemysłu i handlu. Był to świat, który w pierwszej chwili interesował mnie najmniej, nie mając dla mnie tajemniczości ani ludu, ani towarzystwa takiego jak Guermantów. I bez wątpienia, gdyby błyszcząca pustka życia kąpielowego nie dała im wprzód w moich olśnionych oczach uroku, którego już nie mogły stracić, nie zdołałbym może walczyć zwycięsko ze świadomością, że to są córki wielkich kupców. Mogłem tylko podziwiać, jak dalece francuskie mieszczaństwo jest cudowną pracownią najszlachetniejszej i najbardziej urozmaiconej rzeźby. Ile nieprzewidzianych typów, co za inwencja w charakterze twarzy, co za decyzja, świeżość, jasność rysów! Stare Harpagony, z których poczęły się te Diany i nimfy, zdawali mi się największymi rzeźbiarzami. Owe korektury błędu, zmiany pojęć o danej osobie odbywają się z szybkością reakcji chemicznej; tak iż zanim miałem czas zorientować się w przeobrażeniu socjalnym tych dziewcząt, już poza łobuzerskim typem pańienek, które brałem za kochanki szampionów roweru lub boksu, zakwitła myśl, że mogłyby być łatwo spowinowacone z rodziną jakiegoś znajomego rejenta. Nie bardzo wiedział, kim jest Albertyna Simonet. Ona z pewnością nie wiedziała, czym ma być kiedyś dla mnie. Nawet to nazwisko *Simonet*, które już slyszalem na plaży, gdyby mi ktoś kazał napisać, napisałbym je przez dwa „n”, nie domyślając się wagi, jaką ta rodzina przykłada do faktu posiadania tylko jednego „n”. W miarę jak zstępujemy w dół po drabinie socjalnej, snobizm czepia się błahostek, które nie są może błahsze niż cechy arystokracji, ale które, jako bardziej pokątne, prywatne, więcej nas zaskakują. Może byli jacyś Simonnet, którym się powinęła noga w interesach lub gorzej jeszcze. Faktem jest, że Simonetowie czuli się zawsze wzburzeni niby oszczerstwem, kiedy się zdwajało ich „n”. Robili wrażenie, że w to, iż są jedynymi Simonet przez jedno „n” zamiast dwóch, wkładają tyle dumy, ile jacyś Montmorency w swoje najstarsze baroństwo Francji.

Spytałem Elstira, czy te pańienki mieszkają w Balbec; odpowiedział, że niektóre tak. Willa jednej znajdowała się właśnie na samym końcu plaży, tam gdzie się zaczynają skały

Canapville. Ponieważ ta panienska była serdeczną przyjaciółką Albertyny Simonet, tym bardziej mogłem przypuszczać, że to pannę Simonet spotkałem wówczas, idąc z babką. Zapewne jest tyle tych uliczek prostopadłych do plaży, że nie mógłbym ściślej określić, która to była. Chciałoby się mieć dokładne wspomnienie, ale w samym momencie wizja była mętna. Bądź co bądź, to był konkretny pewnik, że Albertyna i owa panienska wchodząca do domu przyjaciółki były jedną i tą samą osobą. A jednak o ile niezliczone obrazy, jakich mi dostarczyła w przyszłości ciemnowłosa amatorka golfa, mimo iż tak różne od siebie, układają się na sobie (bo wiem, że wszystkie należą do niej) i o ile, idąc za nitką wspomnień, mogę, pod osłoną tej tożsamości i niby drogą wewnętrzną komunikacji, przejść wszystkie te obrazy, nie opuszczając tej samej osoby — przeciwnie, jeżeli chcę dojść aż do młodej dziewczyny, którą minąłem, idąc z babką, trzeba mi wyjść na wolne powietrze. Jestem przekonany, że to Albertynę odnajduję, tożsamą z ową młodą dziewczyną, przystającą często w gronie przyjaciółek, odcinającą się w tej przechadzce na horyzoncie morza; ale wszystkie te obrazy pozostają na zewnątrz tamtego, bo nie mogę mu nadać wstecz identyczności, jakiej nie miał dla mnie w chwili, gdy uderzył moje oczy. Wbrew wszelkim danym rachunku prawdopodobieństwa, tej dziewczyny o pulchnych policzkach, która popatrzyła na mnie tak śmiało na wylocie ulicy i która, sądzę, mogła być mnie pokochać, tej, w ścisłym znaczeniu słowa „odnaleźć”, nigdy nie odnalazłem.

Wahanie moje pomiędzy różnymi dziewczętami z małej gromadki, które wszystkie zachowały nieco zbiorowego czaru, jaki mnie zrazu wzruszył, dołączyło się również do tych przyczyn, zostawiających mi później, nawet w czasie mojej największej — mojej drugiej — miłości do Albertyny, jak gdyby okresową i bardzo krótką swobodę niekochania jej. Miłość moja — przez to że błądziła między wszystkimi przyjaciółkami, nim się skupiła ostatecznie na niej — zachowała czasami między sobą a obrazem Albertyny przestrzeń, pozwalającą jej, niby źle wyregulowanemu oświetleniu, padać na inne dziewczęta, zanim się z powrotem skupi na tamtej; związek między bólem w moim sercu a wspomnieniem Albertyny nie wydawał mi się konieczny; dałoby się go może skojarzyć z obrazem innej osoby. To mi pozwalało, na jedno mgnienie, zgasić realność, nie tylko, jak w miłości do Gilberty, zewnętrzną realność (którą miałem za stan wewnętrzny, w którym czerpałem z samego siebie swoistą właściwość, specjalny charakter osoby kochanej, wszystko, co ją czyniło nieodzowną dla mego szczęścia), ale nawet realność wewnętrzną, czysto subiektywną.

— Nie ma dnia, aby która z nich nie przechodziła koło pracowni i nie wpadła do mnie na chwilę — rzekł Elstir, przywodząc mnie do rozpaczmyśli, że gdybym go odwiedził zaraz wtedy, kiedy mnie babka do tego namawiała, byłbym prawdopodobnie od dawna poznał Albertynę.

Oddaliła się; z pracowni już jej nie było widać. Pomyślałem, że poszła się spotkać z przyjaciółkami na promenadzie. Gdybym mógł się tam znaleźć z Elstirem, zapoznałbym się z nimi. Wymyślałem tysiąc pozorów, aby malarz zechciał się przejść ze mną po plaży. Nie miałem już tego spokoju co przed zjawieniem się młodej dziewczyny w ramie okienka, tak uroczego przedtem w swoich kapryfaliach, a teraz tak pustego. Elstir sprawił mi radość zmieszaną z cierpieniem, mówiąc, że przejdzie się kawalek ze mną, ale że musi wprawdzie skończyć to, co właśnie maluje. Były to kwiaty, ale nie te, których portret wolałbym u niego zamówić niż portret jakiejś osoby, aby w objawieniu jego geniuszu poznać to, czego tak długo na próżno szukałem w nich samych: różowe głogi, bławatki, kwiaty jabłoni. Elstir, malując, rozprawiał coś o botanice, ale ja go zaledwie słuchałem; nie istniał dla mnie sam przez siebie, był już tylko nieodzownym pośrednikiem między tymi dziewczętami a mną; urok, jaki jeszcze parę chwil wprzód dawał mu jego talent, miał wartość tylko o tyle, że przydawał trochę uroku mnie samemu w oczach małej gromadki, której artysta mógł mnie przedstawić.

Kręciłem się po pracowni, czekając, aż skończy malować; brałem kolejno i oglądałem studia, przeważnie obrócone do ściany, stłoczone jedno na drugim. W ten sposób wydobyłem na światło akwarelę, która musiała sięgać o wiele dawniejszej epoki Elstira. Wprawiała mnie w owo szczególne zachwycenie, jakie wydzielają dzieła nie tylko rozkosznie wykonane, ale też o temacie tak osobliwym i powabnym, że przypisujemy mu znaczną część ich czaru, tak jakby ten czar, materialnie istniejący już w naturze, malarz potrzebował jedynie odkryć, zaobserwować i odtworzyć. Myśl, że mogą istnieć takie przedmioty,

piękne nawet poza interpretacją malarza, zadowalała w nas wrodzony i zwalczany przez rozum materializm, służąc za przeciwwagę abstrakcjom estetyki.

Akwarela ta, to był portret młodej kobiety, nieładnej, ale ciekawej w typie. Na głowie miała kapelusz dość podobny do melonika, okolony jedwabną, wiśniową wstążką; w jednej ręce — w mitenkach — miała zapalonego papierosa, gdy druga trzymała na wysokości kolana duży, ogrodowy kapelusz, prostą, słomianą zasłonę od słońca. Obok niej, na stole, wazonik pełen róż. Często — i tak było tutaj — osobliwość takich prac wynika zwłaszcza stąd, że artysta wykonał je w specjalnych warunkach, z których zrazu nie zdajemy sobie jasno sprawy, gdy na przykład niezwykła toaleta pozującej stanowi przebranie na bal kostiumowy lub gdy, przeciwnie, czerwony płaszcz starca, robiący wrażenie, że mu go narzucił kaprys malarza, jest profesorską togą lub purpurą kardynała. Dwuznaczny charakter istoty, której portret miałem przed sobą, polegał — czego nie zrozumiałem — na tym, że to była młoda aktorka z dawnej epoki, na wpół przebrana. Ale ten melonik, spod którego stroszyły się jej krótkie włosy, aksamitna kurteczka bez klap, odsłaniająca biały plastron, kazały mi się wahać co do daty mody i co do płci modela, tak iż nie wiedziałem dokładnie, com miał przed oczami — o ile nie po prostu pyszną kompozycję malarską. I przyjemność, jaką mi sprawiała, mąciła się jedynie obawą, że Elstir, przeciągając malowanie, sprawi, iż nie spotkamy młodych dziewcząt, bo słońce w okienku było już bardzo nisko.

Nic w tej akwareli nie było po prostu skonstatowanym faktem, nic nie było wymalowane dla użyteczności sytuacyjnej: kostium, bo trzeba było, aby kobieta była ubrana, wazonik jako pomieszczenie dla kwiatów. Szkło wazonika, ukochane samo przez się, robiło wrażenie, że zawiera wodę, w której kąpały się lodygi goździków, w czymś równie przejrzystym, prawie tak płynnym jak ona; strój kobiety oprował ją w sposób mający urok niezależny, bratni i — gdyby wytwory przemysłu mogły rywalizować z cudami przyrody — równie delikatny, równie soczysty w dotknięciu oczami, równie świeżo malowany jak futro kota, płatki goździka, pióra gołębia. Białość plastronu koszuli o delikatności szronu, figlarnie plisowanej w zakładki podobne dzwonom konwalii, gwieździła się jasnymi refleksami pokoju, ostrymi i subtelnie cieniowanymi niby bukiety kwiatów w hafcie bielizny. Lśniący i perłowy aksamit kurteczki miał miejscami coś zmierzwionego, szochranego i kosmatego, przywodzącego na myśl nastrzępione goździków w wazonie. Ale zwłaszcza czuło się, że Elstir, nie dbając o to, co się mogło wydać niemoralne w przebraniu młodej aktorki, dla której talent i rola były z pewnością mniej ważne niż drażniący powab mający pobudzić zużyte i znieprawione zmysły pewnych widzów, przeciwnie, położył nacisk na ten dwuznaczny charakter niby na element estetyczny, wart, aby go uwydatnić. Artysta uczynił też wszystko, aby go podkreślić. Poprzez linie twarzy, pleć aktorki gotowa była wyznać, że należy do dziewczyny będącej po trochu „chłopczycą”; ginęła, później odnajdywała się, budząc raczej ideę młodego chłopca, zniewieściałego, zepsutego i rozmarzonego; potem uciekała znowu, wciąż nieuchwytna. Wyras smutnej zadumy w oczach, przez sam swój kontrast z akcesoriami trącącymi światem hulanki i kulis, był w tym wszystkim nie najmniej niepokojący. Miało się zresztą wrażenie, że musi być sztuczny i że młoda istota, zdająca się kusić do pieszczot swoim wyzywającym kostiumem, szukała zapewne pieprzyka w tym, aby mu przydać romantyczny wyraz tajonego uczucia, niewyznanej zgrzyoty. U dołu portretu widniał napis: *Miss Sacripant*, październik 1872.

Nie mogłem wstrzymać swego podziwu.

— Och, to nic, to knot z czasu młodości, to kostium dla rewii w „Varietes”. Wszystko to jest bardzo dalekie.

— A co się stało z modelem?

Zdziwienie wywołane moimi słowami poprzedziło na twarzy Elstira obojętny i roztrągniony wyraz, jaki zapanował na niej po upływie sekundy.

— Prędko, daj mi pan to płótno — rzekł — słyszę, że żona idzie. Mimo iż młoda osoba w meloniku nie grała, ręczę panu, żadnej roli w moim życiu, nie ma potrzeby, aby się żonie miała napatoczyć przed oczy ta akwarela. Zachowałem to wyłącznie jako zabawny dokument życia teatru z owej epoki.

I zanim ukrył za sobą akwarelę, Elstir, który może jej od dawna nie widział, wlepił w nią baczne spojrzenie.

— Warto zachować samą głowę — mruknął. — Dół jest doprawdy za lichy malowany, ręce to robota uczniaka.

Byłem zrozpaczony przybyciem pani Elstir, które miało nas jeszcze opóźnić. Rama okna stała się niebawem różowa. Spacer był zupełnie stracony. Nie było już żadnej nadziei spotkania dziewcząt, tym samym nie miało znaczenia, czy pani Elstir pożegna nas prędzej czy później. Nie siedziała zresztą zbyt długo. Wydała mi się bardzo nudna; byłaby może piękna, gdyby miała dwadzieścia lat i prowadziła wołu przez *Campagna Romana*; ale jej czarne włosy białły; była pospolita bez prostoty, bo wierzyła, że uroczyste wzięcie oraz majestatyczność gestu niezbędne są dla jej posągowej piękności, której wiek odebrał zresztą wszystkie powaby. Ubrana była z największą prostotą. I wzruszające, ale dziwne było słyszeć, jak Elstir co chwila, z pełną szacunku słodyczą, tak jakby wymawianie tych słów napępniało go czcią i rozczuleniem, mówi: „Moja piękna Gabrielo!”

Później, kiedy poznał mitologiczne malarstwo Elstira, pani Elstir wypiękniała również w moich oczach. Zrozumiałem, że pewnemu idealnemu typowi, streszczonemu w pewnych liniach, w pewnych arabeskach, powtarzających się wciąż w jego dziele, że pewnemu kanonowi przyznał Elstir w istocie charakter niemal boski, skoro cały swój czas, cały wysiłek myśli, do jakiego był zdolny, słowem, całe swoje życie poświęcił trudowi lepszemu odczytywania tych linii, wierniejszego ich oddania. Ideał ów zrodził w Elstirze kult tak poważny, tak wymagający, że nie pozwalał mu nigdy być zadowolonym; to była najistotniejsza część jego samego; toteż nie mógł go sobie zobiektywizować ani czerpać zeń wzruszeń, aż do dnia, gdy go spotkał, urzeczywistniony, zaklęty w ciało kobiety, w ciało tej, która później została panią Elstir i w której mógł — rzecz możliwa jedynie wobec tego, co nie jest nami — odczuć ten ideał jako coś godnego uwielbienia, wzruszającego, boskiego. Co za odpoczynek zresztą, położyć wargi na tym Pięknie, które dotąd trzeba było z takim wysiłkiem dobywać z siebie, a które teraz, tajemniczo wcielone, ofiarowało mu się w paśmie mistycznych komunii.

W owej epoce Elstir nie miał już tej młodości, w której ziszczania swego ideału oczekuje się jedynie od potęgi myśli. Zbliżał się do wieku, gdy człowiek liczy na satysfakcję ciała dla pobudzenia siły ducha; gdy znużenie tego ducha, skłaniając nas do materializmu — jak zmniejszona energia do możliwości biernie przejmowanych wpływów — zaczynają nam podsuwać myśl, że istnieją może pewne uprzywilejowane ciała, zawody, rytmy, ziszczające tak naturalnie nasz ideał, że nawet bez geniuszu, jedynie kopiując ruch jakiegoś ramienia, napięcie szyi, stworzymy arcydzieło. Jest to wiek, w którym lubimy pieścić spojrzeniem Piękno poza nami, blisko nas, w dywanie, w pięknym szkicu Tycjana znalezionym u antykwarza, w kochance równie pięknej jak szkic Tycjana.

Kiedy to rozumiał, widok pani Elstir zaczął mi sprawiać przyjemność; ciało jej straciło nieco ociężałości, bom je napępniał ideał, ideał, że to jest istota niematerialna, portret Elstira. Była portretem dla mnie i dla niego z pewnością także. Dane życiowe nie istnieją dla artysty, są dlań jedynie sposobnością ujawnienia swego geniuszu. Widząc obok siebie dziesięć portretów rozmaitych osób malowanych przez Elstira, czuje się, że to są przede wszystkim Elstiry. Ale po tym przyplynie geniuszu zalewającym życie, kiedy mózg się zmęczy, niebawem równowaga mąci się i — niby rzeka, wracająca do łożyska po ustąpieniu wielkiego przypływu — życie odzyskuje przewagę. Otóż w czasie pierwszego okresu artysta wykrywa stopniowo prawo, formułę swego nieświadomego daru. Wie, jakie sytuacje (o ile jest powieściopisarzem), jakie widoki (o ile jest malarzem) dostarczają mu materiału, obojętnego w sobie, lecz potrzebnego do dociekań niby laboratorium lub pracownia. Wie, że stworzył arcydzieła z efektów złagodzonego światła, z wyrzutów sumienia zmieniających ideę wina, z kobiet siedzących pod drzewami lub na wpół zanurzonych w wodzie niby posągi. Przyjdzie dzień, gdy wskutek zużycia mózgu nie będzie już miał wobec tych materiałów, jakimi posługiwał się jego geniusz, siły zdobycia się na wysiłek intelektualny, niezbędny dla stworzenia dzieła; mimo to będzie dalej poszukiwał tych materiałów, szczęśliwy, gdy się znajdzie obok nich, dla duchowej rozkoszy i podniety do pracy, jakie w nim budzą; otoczy je jakimś zabobonem, tak jakby były czymś wyższym od wszystkiego innego, jak gdyby w nich się mieściła, niejako już gotowa, znaczna część dzieła sztuki. I w tej fazie artysta nie sięgnie dalej niż obcowanie ze swymi modelami, uwielbienie ich. Będzie rozmawiał bez końca z nawróconymi przestępcami, których żal i odrodzenie były tematem jego powieści; kupi domek w okolicy,

gdzie mgła tonuje światło; będzie spędzał długie godziny, patrząc na kąpiące się kobiety, będzie zbierał piękne materie. „Piękno życia” — to słowo poniekąd pozbawione znaczenia, stadium niesięgające cudu sztuki, na którym zatrzymał się niegdyś Swann; i do tego pojęcia, wskutek omdlenia twórczego ducha, miało kiedyś stopniowo ściągnąć Elstira bałwochwalstwo kształtów niegdyś dłań tak płodnych, pragnienie mniejszego wysiłku.

Dał wreszcie ostatnie dotknięcie pędzla swoim kwiatom; straciłem chwilę, przyglądając się im; nie miałem w tym żadnej zasługi, skoro wiedziałem, że dziewcząt nie będzie już na plaży. Ale gdybym nawet myślał, że są tam jeszcze i że tych kilka minut pozbawi mnie ich widoku, i tak byłbym się przyglądał przez świadomość, że Elstir bardziej się interesuje swoimi kwiatami niż tym, czy ja spotkam owe dziewczęta. Natura babki, będąca zupełnym przeciwieństwem mojego całkowitego egoizmu, odbijała się jednak w mojej naturze. W okoliczności, w jakiej ktoś obojętny, dla kogo zawsze tylko udawałem przywiązanie lub szacunek, ryzykował jedynie przykrość, gdy ja się narażałem na niebezpieczeństwo, i tak czułem się w obowiązku ubolewać nad jego przykrością jak nad czymś poważnym, a bagatelizować własne niebezpieczeństwo, dlatego żem sądził, iż w tych właśnie proporcjach rzeczy muszą się przedstawiać jemu. Aby wyrazić istotną prawdę, trzeba by nawet powiedzieć trochę więcej: nie tylko nie bolałem nad niebezpieczeństwem, na jakie sam się narażałem, ale szedłem naprzeciw niego; co się zaś tyczyło innych, starałem się, przeciwnie, oszczędzić im niebezpieczeństwa, choć bym się miał przez to na nie tym bardziej narażać. Wynika to z wielu przyczyn nieprzynoszących mi zaszczytu. Jedną jest to, że dopóki tylko rozumowałem, sądziłem, że mi przede wszystkim zależy na życiu; ale ilekroć w ciągu mojej egzystencji nękały mnie zgryzoty lub tylko niepokoje nerwowe (czasem tak dziecinne, że nie ośmieliłbym się ich przytoczyć), jeżeli zdarzyła się wówczas nieprzewidziana okoliczność, ryzyko, że mogę być zabity, troska ta była wówczas tak lekka w porównaniu z innymi, że przyjmowałem ją z ulgą graniczącą z uczuciem wesela. W ten sposób poznałem, mimo iż będąc człowiekiem najmniej odważnym w świecie, ową rzecz, która, brana rozumowo, zdawała mi się tak obca, tak niepojęta: upojenie niebezpieczeństwem. Ale choćbym nawet w chwili niebezpieczeństwa, bodaj śmiertelnego, znajdował się w okresie całkowitego spokoju i szczęścia, nie mógłbym — o ile jestem z drugą osobą — nie ochronić jej, nie wybrać niebezpiecznego miejsca dla siebie. Kiedy sporo doświadczeń przekonało mnie, że postępuję tak stale i z przyjemnością, odkryłem, z wielkim swoim wstydem, że, na wspak temu, com zawsze myślał i twierdził, jestem bardzo wrażliwy na sądy drugich. Ten rodzaj utajonej miłości własnej nie ma wszelako związku z próżnością lub pychą. To bowiem, co może zadowolić próżność lub pychę, nie sprawiłoby mi żadnej przyjemności i zawszem się tego wystrzeżał. Ale o ile mi się udawało najpilniej ukryć przed ludźmi swoje drobne przewagi, zdolne dać o mnie mniej lichy pojęcie, o tyle nigdy nie mogłem sobie odmówić przyjemności okazania tym samym ludziom, iż więcej mi zależy na tym, aby usunąć śmierć z ich drogi niż z mojej. Ponieważ pobudką tej przyjemności jest wówczas miłość własna, nie zaś cnota, uważam za bardzo naturalne, że we wszelkiej okoliczności inni ludzie postępują odmiennie. Daleki jestem od potępienia ich; uczyniłbym to może, gdyby mną powodowała idea obowiązku, którą uważałbym wówczas za równie obowiązującą dla nich jak dla siebie. Przeciwnie, mam ich za bardzo rozsądnych, że oszczędzają swoje życie, mimo iż nie mogą przeszkodzić samemu sobie w tym, aby stawiać na drugim planie swoje własne; co jest osobliwie niedorzeczne i występne od czasu, jak podejrzewam, iż życie wielu osób, których osłaniam sobą w chwili, gdy wybucha bomba, bardziej pozbawione jest wartości od mojego życia.

Zresztą w dniu owej wizyty u Elstira daleki był jeszcze czas, kiedym miał sobie uświadomić tę różnicę wartości. I nie chodziło tu o żadne niebezpieczeństwo, ale po prostu o znak zapowiedzi zgubnej miłości własnej, o to, aby nie okazać, iż do przyjemności, której tak pragnąłem, przywiązuję więcej wagi niż do przerwanej pracy akwarelisty. Elstir skończył wreszcie. I skorośmy się znaleźli na drodze, spostrzegłem — tak długie były w owej porze dni — że jest mniej późno, niż sądziłem; poszliśmy na plażę. Ileż chytrości rozwinąłem, aby przytrzymać Elstira w stronie, którą, jak przypuszczałem, dziewczęta mogły jeszcze przechodzić. Pokazując malarzowi skały dokoła nas, wyciągałem go na rozmowę o nich, aby mu dać zapomnieć o godzinie i przetrzymać go. Wydało mi się, że mamy więcej szans zdybać małą gromadkę, idącą ku krańcowi plaży.

— Chciałbym z panem zobaczyć z bliska te skały — rzekłem do Elstira, pamiętając, iż jedna z dziewcząt często chodziła w tę stronę. — A tymczasem niech pan mi mówi o Carquethuit. Och! jakże chciałbym wybrać się do Carquethuit! — dodałem, nie uświadamiając sobie, że ten tak nowy charakter objawiający się z taką siłą w Porcie Carquethuit Elstira, wyrósł może bardziej z wizji malarza niż ze specjalnych uroków tej plaży. — Od czasu jak widziałem ten obraz, to jest miejsce, które może najbardziej chciałbym ujrzyć, obok Pointe-du-Raz, co wymagałoby zresztą całej podróży.

— A przy tym, choćby to nawet było bliżej, radziłbym panu może bardziej Carquethuit — odparł Elstir. — Pointe-du-Raz jest wspaniałe, ale ostatecznie to jest wciąż to samo bretońskie lub normandzkie urwisko, które pan zna. Carquethuit to zupełnie coś innego, z tymi skałami na niskiej plaży. Nie znam we Francji nic analogicznego; to mi raczej przypomina widoki Florydy. Bardzo ciekawe i zresztą też niezmiernie dzikie. Leży między Clitourps a Nehomme, a pan wie, jak te okolice są smutne; linia plaży jest cudowna. Tutaj linia plaży jest banalna; ale tam, nie umiem panu powiedzieć, co za wdzięk, co za słodycz.

Wieczór zapadał; trzeba było wracać; odprowadzałem Elstira do jego willi, gdy nagle, na kształt Mefista wyrastającego przed Faustem, zjawilo na końcu alei — niby prosta, nie-realna i diaboliczna obiektywizacja temperamentu przeciwnego mojemu, barbarzyńskiej niemal i okrutnej witalności, z której tak wyzuta była moja niemoc, mój przerost obo-lalej wrażliwości i intelektualizmu — kilka plamek esencji niepodobnej do pomieszenia z żadną inną, kilka członów zoofitycznego skupienia młodych dziewcząt. Robiły wrażenie, że mnie nie widzą, ale bez wątpienia w tej samej chwili wydawały o mnie ironiczny sąd. Czując, że nasze spotkanie jest nieuniknione, że mnie Elstir zawoła, obróciłem się plecami niby kąpiący się, gdy czeka uderzenia fali; zatrzymałem się w miejscu i, pozwalając swemu znakomitemu towarzyszeni iść dalej, zostałem z tyłu, pochylając się z nagłym zainteresowaniem ku witrynie antykwarza, koło której przechodziliśmy właśnie. Byłbym dość rad okazać, że mogę myśleć o czym innym niż o tych dziewczętach, i wiedziałem już mglisto, że kiedy mnie Elstir zawoła, aby mnie przedstawić, miałbym ów pytający wzrok, wyrażający nie zdziwienie, ale chęć wyglądania na człowieka zdziwionego — tak dalece każdy jest złym aktorem lub bliźni dobrym fizjonomistą. Czulem, że się posunę wręcz do tego, aby wskazać palcem na swoją pierś, niby z zapytaniem: „Czy mnie pan woła?” i nadbiec szybko z głową zgietą posłuszeństwem i uległością, z twarzą zimno pokrywającą niezadowolone, że mi przerwano oglądanie starych fajansów po to, by mnie przedstawić osobom, których nie pragnęłam poznać. Tymczasem patrzyłam na wystawę, oczekując chwili, gdy nazwisko moje, wywołane przez Elstira, uderzy mnie niby oczekiwana i niegroźna kula. Pewność, iż będę przedstawiony młodym dziewczętom miała za rezultat nie tylko to, że odgrywałam w stosunku do nich obojętność, ale że ją czułam naprawdę. Przyjemność poznania ich, w tej chwili nieunikniona, skurczyła się, zmalęła, wydała mi się mniejsza niż przyjemność gawędki z Robertem, obiadu z babką, wycieczek, których prawdopodobnie będę musiał poniechać, wszedłszy w stosunki z osobami mało zapewne ciekawymi historycznych pamiątek. Zadowolenie z tej znajomości zmniejszyła zresztą nie tylko bliskość, ale bezładność jej ziszczenia. Prawa równie ściśle jak prawa hydrostatyki utrzymują kolejność obrazów, jakie tworzymy w stałym porządku, zburzonym bliskością wydarzenia. Elstir miał mnie zawołać. Wcale nie w ten sposób wyobrażałam sobie często na plaży lub w swoim pokoju poznanie tych dziewcząt. To, co miało nastąpić, to było inne wydarzenie, na które nie byłam przygotowana. Nie poznawałam ani swojego pragnienia, ani jego przedmiotu; niemal żalowałam, że wyszedł z Elstirem. Ale skurczenie się przyjemności, jakiej się dawniej spodziewałam, wynikało zwłaszcza z pewności, że już mi jej nic nie zdoła wydrzeć. I przyjemność ta odzyskała, niby mocą elastycznej siły, całą swoją wysokość, kiedy przestała czuć ucisk tej pewności; kiedy, zdecydowawszy się odwrócić głowę, ujrzałam Elstira stojącego o kilka kroków dalej z dziewczętami i żegnającego się z nimi. Twarz stojącej najbliżej niego, pulchna i naświetlona spojrzeniem, podobna była do ciastka, w którym zachowano by miejsce dla odrobiny nieba. Oczy jej, nawet nieruchome, dawały wrażenie ruchliwości, jak bywa w dniu wielkiego wiatru, gdy powietrze, mimo iż niewidzialne, pozwala odczuć szybkość, z jaką pędzi na tle lazuru.

Przez chwilę spojrzenia jej skrzyżowały się z moimi, jak owe wędrownie nieba w dni burzy, gdy zbliżają się do mniejszych chmury, ocierają się o nią, dotykają jej, mijają. Ale



nie znają się i odchodzą daleko jedno od drugiego. Tak nasze spojrzenia znalazły się przez chwilę na wprost siebie, przy czym żadne z nas nie miało świadomości, ile obietnic i grózb na przyszłość zawierał znajdujący się przed nim kontynent niebieski. Jedynie w chwili gdy jej spojrzenie przeszło dokładnie pod moim, wówczas, nie zwalniając biegu, zamglilo się lekko. Tak w jasną noc, unoszony wiatrem księżyc kryje się za chmurą i gasi na chwilę swój blask, po czym wyłania się bardzo szybko. Ale już Elstir rozstał się z dziewczętami, nie przywołałszy mnie. Skręciły w boczną uliczkę, on wrócił do mnie. Wszystko przepadło.

Wspomniałem, że Albertyna wydała mi się tego dnia inna niż poprzednio i że za każdym razem miała mi się wydać inna. Ale uczulem w tej chwili, że pewne zmiany w wyglądzie, ważności, wymiarach danej istoty mogą zależeć również od zmienności pewnych stanów wciskających się między tę istotę a nas. Jednym z elementów grających w tej mierze najważniejszą rolę jest wiara (tego wieczora wiara, potem zburzenie wiary, że mam poznać Albertynę, uczyniła mi ją na przestrzeni kilku sekund prawie obojętną, potem nieskończenie cenną; w kilka lat później, wiara, a potem utrata wiary, że Albertyna jest mi wierna, spowodowały analogiczne zmiany).

Zapewne, widziałem już w Combray, jak ból rozłączenia z matką zmniejsza się lub rośnie zależnie od godzin, zależnie od tego, czym wchodził w jedną lub drugą z dwóch wielkich faz mojej wrażliwości. Ból ten był przez całe popołudnie równie niedostrzegalny jak światło księżyca, dopóki błyszczą słońce, a z zapadnięciem nocy panował sam w mojej strwożonej duszy w miejsce zatartych i świeżych wspomnień. Ale tego dnia, widząc, jak Elstir rozstaje się z dziewczętami, nie zawołałszy mnie, pojąłem, że różnice wagi, jaką mają w naszych oczach przyjemność lub zmartwienie, mogą zależeć nie tylko od tej kolejności dwóch stanów, ale od przemieszczenia niewidzialnych wierzeń, które na przykład czynią nam bardzo obojętną śmierć, gdyż topią ją w świetle nierzeczywistości i pozwalają nam w ten sposób interesować się jakimś wieczorem muzycznym, który straciłby urok, gdyby, z zapowiedzią, że mamy być gilotynowani, wiara, w której kąpie się ów wieczór, rozproszyła się nagle. Tę rolę wiary — i o tym, co prawda, wiedziało coś we mnie — zna w nas wola; ale zna ją na próżno, o ile inteligencja i wrażliwość nadal jej nie znają; te są szczere, kiedy wierzą, że my mamy ochotę porzucić kochankę, podczas gdy sama nasza wola wie, że jesteśmy do niej przywiązani. Bo one są zaciemnione wiara, że ją znów ujrzymy za chwilę. Ale niech się ta wiara rozproszy, niech się owa inteligencja i wrażliwość dowiedzą nagle, że kochanka wyjechała na zawsze, wówczas, straciwszy równowagę, stają się jak szalone, najniklejsza przyjemność urasta nieskończenie.

Są to wahania wiary, a również nicość miłości, która, preegzystująca i ruchoma, zatrzymuje się przy obrazie jakiejś kobiety jedynie dlatego, że ta kobieta jest prawie niedosiężna. Z tą chwilą mniej myślimy o kobiecie, z trudem mogąc ją sobie odtworzyć, ile o sposobach jej poznania. Rozwija się cała gradacja niepokojów i wystarcza, aby skupić naszą miłość na niej, przedmiocie tej miłości zaledwie nam znanym. Miłość staje się olbrzymia, nie wiemy, jak mało zajmuje w niej miejsca realna kobieta. I jeżeli nagle — jak w chwili gdy ujrzałem, że Elstir rozmawia z tymi dziewczętami — przestaniemy być niespokojni, przestaniemy odczuwać ucisk serca, wydaje się nam nagle, że miłość zgasa w chwili, gdy trzymamy wreszcie zdobycz, o której wartości nie dosyć myśleliśmy, ponieważ ten właśnie ucisk serca jest całą naszą miłością. Co ja znałem z Albertyny? Jeden czy dwa profile nad morzem, mniej piękne z pewnością niż profile kobiet Veronesa, które powinien bym — gdybym był posłuszny czysto estetycznym racjom — woleć od niej. A jakież mogłem mieć inne racje, skoro po zniknięciu niepokojów mogłem odnaleźć tylko te nieme profile, nie posiadałem nic innego. Od czasu jak ujrzałem Albertynę, robiłem co dnia w związku z nią tysiące refleksji, wiodłem z tym, com nazywał nią, całą wewnętrzną rozmowę, w której kazałem jej pytać, odpowiadać, myśleć, działać. W nieskończonej serii wyrojonych Albertyn następujących we mnie w ciągu godzin, Albertyna realna, ujrzana na plaży, figurowała jedynie na czele, jak „gwiazda” ukazuje się w długiej serii przedstawień teatralnych jedynie przez pierwsze wieczory. Ta Albertyna była zaledwie sylwetką; wszystko w niej ponadto było ze mnie, tak dalece w miłości wkład pochodzący od nas przeważa — biorąc choćby ilościowo — to, co pochodzi od kochanej istoty. I to jest prawda dla miłości najbardziej rzeczywistych. Bywają takie, które mogą nie tylko zrodzić się, ale trwać dokoła lada czego — nawet te, które dostały cielesnej konsekracji. Dawny nauczyciel rysunku mojej babki miał z jakiegoś pokątnego stosunku córkę. Matka

umarła wkrótce po narodzeniu dziecka, a profesor rysunku zgryzł się tym tak, że nie długo miał ją przeżyć. W ostatnich miesiącach jego życia babka i kilka pań z Combray (nigdy wobec profesora nie zrobiwszy nawet aluzji do tej kobiety, z którą zresztą nie żył oficjalnie, mając z nią tylko przelotne stosunki) chciały zabezpieczyć przyszłość dziewczynki w drodze zapewnienia jej dożywotniej renty. Zaproponowała to babka, niektóre przyjaciółki opierały się trochę; czy ta dziewczynka (mówiły) jest naprawdę taka interesująca, czy nawet jest córką swego rzekomego ojca; z tego rodzaju kobietami nigdy nie można wiedzieć... W końcu zdecydowano się. Dziewczynka przyszła podziękować. Była brzydka i tak podobna do nauczyciela rysunków, że podobieństwo to usunęło wszystkie wątpliwości. Ponieważ jedyną rzeczą ładną były jej włosy, jedna z dam rzekła do ojca dziewczynki, który ją przyprowadził: „Jakie ona ma ładne włosy”. I myśląc, że obecnie, gdy występna kobieta umarła, a profesor był już na wpół umarły, aluzja do owej przeszłości, którą zawsze pomijano milczeniem, nie będzie niedyskrecją, babka dodała: „To musi być rodzinne. Czy to jej matka miała takie ładne włosy?”. — „Nie wiem — odparł naiwnie ojciec. — Widziałem ją tylko w kapeluszu”.

Trzeba było dogonić Elstira. Ujrzałem się w lustrze. Na domiar klęski, że mnie nie przedstawiono dziewczętom, spostrzegłem, że krawat miałem całkiem krzywo i że spod kapelusza wymykały mi się długie włosy, z czym mi było bardzo brzydtko. Ale i to była szansa, że mnie widziały bodaj tak z Elstirem i że nie mogły mnie już zapomnieć; drugą szansą było to, że na ten dzień, idąc za radą babki, włożyłem ładną kamizelkę (a mało brakowało, abym zamiast niej włożył inną, okropną) i wziąłem najładniejszą laskę. Upragniony wypadek nigdy nie spełnia się tak, jak się spodziewali; w braku korzyści, które zdawały się nam pewne, następują inne, na któreśmy nie liczyli, wszystko się tedy wyrównuje; a tak bardzo obawialiśmy się najgorszego, że w sumie jesteśmy skłonni uważać, iż, biorąc ryczałtem, los był nam raczej pomyślny.

— Tak pragnąłem poznać te dziewczęta — rzekłem, podchodząc do malarza.

— Więc po cóż pan sterczy o miłą?

Te słowa wyrzekł Elstir nie dlatego, że wyrażały jego myśl, bo gdyby w istocie chciał mnie uszczęśliwić, łatwo mógł mnie zawołać; ale może dlatego, że słyszał tego rodzaju powiedzenia, właściwe pospolitym ludziom przyłapanym na błędzie. Nawet wielcy ludzie są w pewnych rzeczach podobni ludziom pospolitym, czerpią zdawkowe wymówki w tym samym repertuarze, jak chleb powszedni biorą u tego samego piekarza. A może takie słowa, które powinny być poniekąd czytane na wywrót, skoro ich litera oznacza rzecz przeciwną prawdzie, są nieodzownym skutkiem, negatywną grafiką odruchu?

— Śpieszyły się.

Pomyślałem, że zwłaszcza nie pozwoliły mu przywołać kogoś, kto im się wydał mało sympatyczny; inaczej Elstir byłby to z pewnością uczynił, po tylu moich dopytywaniach się o te dziewczęta i po moim tak widocznym zainteresowaniu.

— Mówiliśmy o Carquethuit — rzekł Elstir, zanim go pożegnałem u bramy. — Zrobiłem mały szkic, gdzie lepiej widzi się podkowiec plaży. Obraz jest niezły, ale to co innego. Jeżeli pan pozwoli, na pamiątkę naszej przyjaźni ofiaruję panu mój szkic — dodał. (Odmawiając tego, czego pragniemy, ludzie darują nam chętnie co innego!)

— Bardzo bym pragnął, o ile pan ją posiada, mieć fotografię portreciku Miss Sacripant. Ale co to za imię?

— To imię osobistości, którą grał oryginał portretu w idiotycznej operetce.

— Ale, proszę pana, ja zupełnie nie znam tej osoby; pan ma taką minę, jakby pan sądził inaczej.

Elstir zamilkł.

— To przecie nie jest pani Swann przed swoim małżeństwem? — rzekłem w owym nagłym i przypadkowym przeczuciu, na ogół dość rzadkim, ale wystarczającym później, aby dać niejaki uzasadnienie teorii przeczucia, jeśli się zapomni wszystkich omyłek, które by ją mogły osłabić.

Elstir nie odpowiedział. Ale to był portret Odety de Crécy. Nie chciała go mieć u siebie dla wielu przyczyn, po części aż nazbyt oczywistych. Były i inne. Portret był wcześniejszy od epoki, gdy Odeta, zorganizowawszy swoje rysy, uczyniła z własnej twarzy i figury ową kreację, której zasadnicze linie mieli uszanować, w ciągu wielu lat, jej

fryzjerzy, krawcy, ona sama — w sposobie wzięcia, mówienia, uśmiechu, trzymania rąk, spojrzenia, myślenia. Trzeba było deprawacji nasyconego kochanka, a Swann od licznych fotografii Odety *ne varietur*, jaką była jego uroczą żonę, wolał małą fotografię, którą miał w swoim pokoju i na której widziało się, w słomkowym kapeluszu przybranym bratkami, młodą kobietę dość brzydką, z utapiowanymi włosami, o nazbyt ściągłej twarzy.

Zresztą gdyby ten portret był nie wcześniejszy, jak ulubiona fotografia Swanna, od usystematyzowania rysów Odety w nowy, majestatyczny i uroczy typ, ale gdyby był od niego późniejszy, wystarczyłoby wizji Elstira, aby ten typ zburzyć. Geniusz artysty działa na sposób owych bardzo wysokich temperatur, które mają moc rozkładania kombinacji atomów i grupowania ich wedle zupełnie odmiennego porządku, odpowiadającego innemu typowi. Cała ta sztuczna harmonia, jaką kobieta narzuciła swoim rysom i której trwałości co dnia dogląda w lustrze przed wyjściem z domu, zmieniając nachylenie kapelusza, przyczesanie, blask spojrzenia, całą tę harmonię oko wielkiego malarza niweczy w jednej sekundzie, przegrupowując rysy kobiety w sposób czyniący zadość jego własnemu kobiecemu i malarskiemu ideałowi. Zdarza się również, że począwszy od pewnego wieku, oko wielkiego badacza wszędzie znajduje elementy potrzebne do ustalenia stosunków, które go wyłącznie interesują. Jak owi robotnicy lub gracze, którzy nie robią sobie wiele kłopotu i zadowolają się tym, co im popadnie w rękę, taki artysta mógłby powiedzieć o czymkolwiek: „to mi się nada”. I tak kuzynka księżnej de Luxembourg, dumna i wyniosła piękność, zapaliwszy się do nowego w owej epoce kierunku sztuki, poprosiła największego z naturalistycznych malarzy, aby zrobił jej portret. Natychmiast oko artysty znalazło to, czego szukało wszędzie. I w miejsce wielkiej damy znalazła się na płótnie ulicznica, a za nią szeroka, pochyła, fioletowa płaszczyzna, przywodząca na myśl plac Pigalle. Ale nawet nie idąc tak daleko, nie tylko portret kobiecy, robiony przez wielkiego artystę, nie będzie się starał uczynić zadość jakimś wymaganiom kobiety — takim na przykład, które, kiedy kobieta zaczyna się starzeć, każą się jej fotografować w pozach niemal dziewczętkowatych, uwydatniających jej wciąż młodą figurę, i robią z niej jak gdyby siostrę lub nawet córkę jej córki, w potrzebie „przyrządzonej” na tę okoliczność specjalnie staro i posadzonej obok matki — ale, przeciwnie, wydobędzie ujemne cechy, które kobieta pragnie ukryć i które, jak gorączkowa zielonkawa cera, szczególnie go kuszą, ile że mają „charakter”; ale cechy te wystarczają, aby rozczarować przeciętnego widza i rozbijają mu do szczeru ideał, którego zbroję kobieta dźwigała tak dumnie i który mieścił ją w jej jedynej nienaruszalnej formie tak bardzo poza resztą i ponad resztą ludzkości. Obecnie, zdegradowana, wywłaszczona z własnego typu, w jakim królowała nietykalna, jest tylko przeciętną kobietą, w której wyższość przestaliśmy wierzyć. W tym typie tak dalece umieściliśmy nie tylko piękność jakiejś Odety, ale jej osobowość, tożsamość, że wobec portretu, który ją z niego wyzuł, gotowi jesteśmy wykrzyknąć nie tylko: „Jaka zeszpecona!”, ale: „Jaka niepodobna!”. Trudno nam uwierzyć, aby to była ona. Nie poznajemy jej. A jednak jest tam istota, którą — czujemy to — jużśmy widzieli. Ale ta istota to nie Odeta; jej twarz, ciało, wygląd, są nam dobrze znane. Przypominają nam nie tę kobietę, która nigdy się tak nie trzymała, której zwykła poza nie rysuje bynajmniej tego dziwaczного i wyzywającego arabesku, ale inne kobiety, wszystkie te, które malował Elstir i które, choćby najbardziej różne, lubił w ten sposób stawiać na wprost widza, z napiętą stopą wystającą spod spódnicy, z dużym okrągłym kapeluszem w ręce, odpowiadającym ściśle na wysokości kolana, które zasłania, owej drugiej tarczy widzianej *en face* — twarzy. Wreszcie, genialny portret nie tylko zmienia typ kobiety, jaki stworzyła jej zalotność i egoistyczne pojęcie piękna. Jeżeli portret jest dawny, nie poprzestaje na tym, że postarza oryginał na sposób fotografii, ukazując go w niemodnym stroju. Na portrecie nie tylko strój kobiety trąci myszką, ale także malarski styl artysty. Ta maniera, pierwsza maniera Elstira była najbardziej przytłaczającą metryką dla Odety, czyniąc ją nie tylko, jak jej ówczesne fotografie, młodszą siostrą głośnych kokot, ale także robiąc jej portret współczesnym licznych portretów, jakie Manet lub Whistler robili z tyłu zaginionych modeli, należących już do niepamięci lub do historii.

Te myśli, w milczeniu przetrawiane obok Elstira, gdy go odprowadzał do domu, nasunęło mi świeżo uczynione odkrycie tożsamości jego modela. Naraz to pierwsze odkrycie zrodziło we mnie drugie, bardziej jeszcze dla mnie niepokojące, dotyczące tożsamości artysty. Robił portret Odety de Crécy. Byłoby możliwe, aby ten genialny człowiek, ten

mędrzec, ten samotnik, filozof rozprawiający tak wspaniale i panujący nad każdym tematem, był owym śmiesznym bufonem, malarzem protegowanym niegdyś przez państwa Verdurin? Spytałem go, czy ich zna, czy przypadkiem nie nazywali go wówczas „panem mistrzem”. Odpowiedział, że tak, bez zakłopotania, jak gdyby chodziło o zamierzchnią już epokę jego życia. Jeżeli Elstir nie domyślał się straszliwego zawodu, jaki mi sprawił, spojrzawszy na mnie mógł go odczytać na mojej twarzy. Twarz artysty przybrała wyraz niezadowolenia. Że zaś byliśmy już prawie pod jego domem, człowiek niższy od niego inteligencją i sercem, pożegnałby mnie może po prostu sucho i potem unikałby spotkania. Ale Elstir postąpił inaczej. Był to prawdziwy mistrz; i z punktu widzenia czystej sztuki była to może jego jedyna wada, że był owym *mistrzem*; artysta bowiem, aby być całkowicie w prawdzie życia duchowego, powinien być sam i nie udzielać swego *ja* nawet swoim uczniom. Panujący nad wszelką sytuacją, czy tyczyła jego czy innych, Elstir starał się z niej wydobyć, ku nauce młodych, zawartą w niej cząstkę prawdy. Od słów tedy zdolnych pomścić jego miłość własną, wołał te, które mnie mogły pouczyć.

— Nie ma człowieka, bodaj najmędrszego — rzekł Elstir — aby w pewnej epoce młodości nie mówił rzeczy lub wręcz nie prowadził życia, których wspomnienie musi mu być przykre i które pragnąłby zatrzeć w pamięci. Ale nie powinien żałować absolutnie owej przeszłości, bo nie może być pewien, czy zostałby mędrce — w tej mierze, w jakiej to jest możliwe — gdyby nie przeszedł przez wszystkie śmieszne lub wstrętne fazy, nieodzownie poprzedzające to ostatnie wcielenie. Wiem, że są młodzi ludzie, synowie i wnukowie ludzi dystyngowanych, którym preceptorzy wszczepili od szkolnej ławki szlachetność ducha i wykwił moralny. Ci może nie potrzebują nic usunąć ze swego życia, mogliby ogłosić i podpisać wszystko, co kiedy powiedzieli; ale to są ubogie natury, pogrobownicy doktrynerów, posiadacze mądrości negatywnej i jałowej. Nie dostaje się mądrości w darze, trzeba ją odkryć samemu, po wędrówce, jakiej nikt nie może podjąć za nas ani jej nam oszczędzić, bo ona jest spojrzeniem na świat. Żywoty, które pan podziwiasz, postawy, które ci się wydają szlachetne, nie były przygotowane przez ojca ani przez preceptora; poprzedziły je początki bardzo odmienne, kształtowało je wszystko zło i wszystka banalność panujące dokoła. Wyróżniają walkę i zwycięstwo. Rozumiem, że obraz tego, czym byliśmy w pierwszej fazie, nie jest podobny do nas i jest w każdym razie niemiły. Ale nie trzeba się go zapierać, bo jest świadectwem, żeśmy naprawdę żyli, że wedle praw bytu i praw ducha, z pospolitych składników życia, z życia pracowni, z koterii artystycznych (o ile chodzi o malarza), wydobyliśmy coś, co je przerasta.

Doszedliśmy pod dom Elstira. Czulem zawód, że nie poznał owych dziewcząt z plaży. Ale ostatecznie miałem teraz możliwość odnalezienia ich w życiu; przestały być jedynie obrazem na horyzoncie — obrazem małe dającym nadzieję ponownego ujścia. Dokoła nich nie szumił już ten jak gdyby wielki wir, który nas rozdzielał i który był jedynie wyrazem pragnienia w jego nieustannej energii, ruchliwego, nagłego, karmionego wzruszeniami, jakie budziła we mnie ich niedostępność, ich zniknięcie może na zawsze. Mogłem obecnie swojemu pragnieniu dać wytchnienie, zachować je w zapasie, obok tylu innych, których urzeczywistnienie oddalałem, skorom raz wiedział, że jest możliwe.

Pożegnałem Elstira, znalazłem się sam. Wówczas nagle, mimo swojego zawodu, ujrzałem w duchu wszystkie te przypadki, których możliwości nie byłbym podejrzewał; że właśnie Elstir znał się dobrze z tymi dziewczętami; że te, co jeszcze rano były dla mnie sztafażem obrazu mającego za tło morze, widziały mnie, wiedzą, że jestem znajomym wielkiego malarza, który, świadom teraz mojej chęci poznania ich, dopomoże jej z pewnością. Wszystko to sprawiło mi przyjemność, ale ta przyjemność pozostała mi ukryta; była z rodzaju owych gości, którzy, zanim nam dadzą znać, że są, czekają, aby nas inni pożegnali, abyśmy zostali sami. Wówczas spostrzegamy ich, możemy ich wysłuchać, powiedzieć: „jestem do twoich usług”. Czasami między chwilą, w której te przyjemności wstąpiły w nas, a chwilą, gdy możemy wejść w siebie sami, upłynęło tyle godzin, widzieliśmy wśród tego tyle osób, iż obawiamy się, że one nie czekały. Ale one są cierplive, nie nużą się, i z chwilą gdy wszyscy odeszli, znajdujemy je przed sobą. Czasem my jesteśmy wówczas tak zmęczeni, iż wydaje się nam, że nie będziemy mieli w naszej omdlałej myśli dość siły, aby zachować wspomnienia, wrażenia, dla których nasze kruche *ja* jest jedynym miejscem mieszkalnym, jedynym sposobem urzeczywistnienia. I żałowalibyśmy tego, bo istnienie ma wartość jedynie prawie w dniach, gdy pył rzeczywistości miesza się z magicz-

nym piaskiem, gdy jakieś pospolite wydarzenie staje się romantycznym bodźcem. Cały przylądek niedostępnego świata wylania się wówczas z oświelenia snu i wchodzi w nasze życie — w nasze życie, gdzie niby człowiek zbudzony ze snu widzimy osoby, o których śniliśmy tak żarliwie, żeśmy sądzili, iż nie ujrzemy ich inaczej niż w marzeniu.

Ukojenie przyniesione przez obecną nadzieję poznania tych młodych dziewcząt, kiedy będę miał ochotę, było mi tym cenniejsze, ile że nie mógłbym ich śledzić w następnych dniach zaprzątniętych bliskim wyjazdem Roberta. Babka pragnęła okazać memu przyjacielowi wdzięczność za tyle uprzejmości dla nas. Powiedziałem jej, że Robert uwielbia Proudhona i podsunąłem jej myśl sprowadzenia nabytych przez nią listów tego filozofa w autografie. Saint-Loup przyszedł je obejrzeć w dniu, gdy przybyły; było to w wilię jego wyjazdu. Przeczytał je chciwie, obracając w rękę z szacunkiem każdą ćwiartkę, starając się zapamiętać każde zdanie; potem wstał, tłumaczył się przed babką, że siedział tak długo, na co usłyszał w odpowiedzi:

— Ależ nie, niech je pan weźmie, to dla pana, po to je sprowadziłam, aby je panu ofiarować.

Wówczas ogarnęła go radość, której nie mógł opanować, niby stanu fizycznego objawiającego się bez udziału woli. Zrobił się szkarłatny jak dziecko, które ukarano; wysiłki, jakie czynił (nadaremnie), aby powściągnąć miotającą nim radość, wzruszyły babkę bardziej niż wszystkie możebne podziękowania. Ale on, bojąc się, iż źle wyraził swoją wdzięczność, nazajutrz jeszcze, wychylając się z okna lokalnej kolejki, którą jechał do swego garnizonu, prosił mnie, aby go wytłumaczyć. Garnizon był w istocie bardzo niedaleko. Saint-Loup zamierzał się tam udać powozem, jak zwykł był często, kiedy miał wracać wieczorem i kiedy nie chodziło o wyjazd ostateczny. Ale tym razem musiał wyprowadzić swoje liczne bagaże pociągiem, uważał tedy za prostsze zabrać się z nimi sam, idąc w tym za radą dyrektora hotelu, który, zapytany w tej mierze, odpowiedział, że powóz czy kolejka żelazna „to jest mniej więcej dwuznaczne”. Chciał przez to powiedzieć, że to będzie równoznaczne (w sumie mniej więcej to samo, co by Franciszka określiła słowami, że „to wyjdzie na jedność”).

— Niech będzie — odparł Saint-Loup — pojedę „samowarkiem”.

Byłbym pojechał także, gdybym nie był zmęczony: chciałem odwiedzić Roberta aż do Doncières; przyrzekałem mu bodaj, że go będę odwiedzał parę razy na tydzień. Przyrzekałem mu to przez cały czas, kiedyśmy czekali na stacji w Balbec; to znaczy przez czas, kiedy maszynista czekał na swoich zapóźnionych przyjaciół, bez których nie chciał odjechać, a także orzeźwiał się w bufecie. Ponieważ Bloch — ku wielkiemu niezadowoleniu Roberta — przyszedł również na dworzec, ów, widząc, że nasz kolega słyszy, jak on mnie prosi, abym przyjeżdżał na śniadanie, na obiad, na pobyt do Doncières, powiedział mu w końcu nader zimno, tonem mającym skorygować wymuszoną uprzejmość zaproszenia i nie pozwolić, aby je Bloch wziął serio: „Jeżeli pan będzie kiedy przejeżdżał przez Doncières, a ja byłbym po południu wolny, może pan spytać o mnie w koszarach, ale nie jestem wolny prawie nigdy”. Może też Saint-Loup bał się, że sam bym nie przyjechał i myśląc, że jestem bliżej z Blochem, niż się do tego przyznaję, otwierał mi w ten sposób możliwość zabrania z sobą towarzysza podróży, „trenera”.

Bałem się, że ten ton, sposób zapraszania kogoś z równoczesną radą, aby nie przyjeżdżał, może urazić Blocha; uważałem, że Saint-Loup lepiej by uczynił, nie mówiąc nic. Ale pomyliłem się, bo po odejściu pociągu, gdyśmy szli razem do skrzyżowania alej, gdzie trzeba się było rozstać (jedna droga wiodła do hotelu, druga do willi Blochów), Bloch nie przestał mnie wypytywać, kiedy się wybieramy do Doncières, bo (powiadał) po „wszystkich uprzejmościach Roberta” byłoby „chamstwem” nie skorzystać z jego zaprosin. Byłem rad, że Bloch nie zauważył (lub też był na tyle mało urażony, aby mieć ochotę udawać, że nie zauważył) w jakim tonie, wcale nie nalegającym, ledwie że grzecznym, wyrażono zaproszenie. Byłbym wszelako pragnął oszczędzić Blochowi śmieszności pospieszenia zaraz do Doncières. Ale nie śmiałem mu udzielić rady, która musiałaby mu sprawić przykrość, uświadamiając, że Saint-Loup był nie tyle uprzejmy, ile on skwapliwy. Był nim w istocie o wiele zanadto i mimo że wszystkie tego rodzaju wady Blocha wyrównywały się znacznymi przymiotami, jakich nie mieliby znów inni, delikatniejsi, posuwał on niedelikatność aż do punktu, w którym stawała się drażniąca. Wedle niego nie powinniśmy byli czekać ani tygodnia z wyprawą do Doncières (powiadał „my”, bo sądzę, że

liczył trochę na moją obecność, jako usprawiedliwienie swojej). Przez całą drogę, przed „pałacem sportowym” ukrytym w drzewach, przed kortem tenisowym, przed domem, przed straganem z muszlami, zatrzymywał mnie, błagając, aby ustalić dzień; a kiedy tego nie uczynił, pożegnał mnie zagniewany, mówiąc: „Jak wola Waszej Miłości. Ale ja w każdym razie muszę jechać, skoro mnie Robert zaprosił”.

Saint-Loup tak się bał, że nie dość podziękował babce, iż jeszcze raz polecił mi wyrazić jej swoją wdzięczność w liście, który otrzymałem od niego na trzeci dzień z garnizonu. Na kopercie, gdzie poczta wycisnęła nazwę miasta, zdawało się ono przybiegać do mnie z oznajmieniem, że w jego murach, w koszarach kawaleryjskich Louis XVI, Robert myśli o mnie. Papier listowy miał herb Marsantes; był w nim lew, a nad nim korona parów Francji.

„Po drodze — pisał Saint-Loup — która odbyła się dobrze dzięki książce kupionej na dworcu, pióra Arvéde’a Barine (autor jest podobno Rosjaninem; wydała mi się tego napisana jak na cudzoziemca, ale prześlij mi swoją opinię, ty musisz to znać, ty studnio wiedzy, któryś czytał wszystko), oto jestem z powrotem w koszarach, w tym pospolitym życiu, gdzie niestety czuję się bardzo na wygnaniu, nie mając tego, com zostawił w Balbec; w tym życiu, gdzie nie odnajduję żadnych wspomnień przyjaźni, żadnych czarów intelektu; w życiu, którego atmosferą z pewnością pogardzasz, a które mimo to nie jest bez uroku. Wszystko mi się tu wydaje zmienione od czasu, jak stąd wyjechałem, bo tymczasem rozpoczęła się jedna z najważniejszych epok mego życia, era naszej przyjaźni. Mam nadzieję, że się nie skończy nigdy. Mówiłem o tej przyjaźni, o tobie, tylko jednej istocie, tylko mojej kochance, która zrobiła mi niespodziankę, przyjeżdżając spędzić ze mną parę godzin. Bardzo byłaby rada poznać cię i sądzę, że byście się sobie nadali, bo ona także uwielbia literaturę. Co do mnie, wciąż wracam myślą do naszych gawęd, przeżywam znów owe godziny, których nie zapomnę nigdy; aby ich kosztować pełniej, odsunąłem się od kolegów, wybornych chłopców, ale całkowicie niezdolnych tego zrozumieć. Byłbym prawie wolał pierwszego dnia wywołać te wspomnienia chwil spędzonych z tobą tylko dla siebie samego, nie pisząc do ciebie. Ale bałem się, abyś ty, umysł subtelny i serce arcywrażliwe, nie wbił sobie jakiegoś ćwieka w głowę, nie otrzymując listu, o ile w ogóle raczyłeś zniżyć swoją myśl ku prostakowi kawalerzyście, z którym będziesz miał wiele kłopotu, aby go okrzesać i uczynić subtelniejszym i godniejszym ciebie”.

W gruncie ten list bardzo przypominał swoją czułością te, których oczekiwałem od Roberta, kiedy go nie znałem jeszcze; w owych marzeniach, z których wyrwał mnie chłód pierwszego spotkania, stawiając mnie wobec lodowatej rzeczywistości, niemającej być ostateczną. Odkąd dostałem pierwszy list, za każdym razem, kiedy w porze śniadania przynoszono pocztę, poznawałem natychmiast list od niego, bo miał zawsze ową drugą twarz, jaką ukazuje dana istota, kiedy jest nieobecna. I nie ma powodu nie wierzyć, że w jej rysach (charakter pisma) chwytam duszę indywidualną równie dobrze jak w linii nosa lub barwie głosu.

Siedziałem teraz chętnie przy stole, podczas gdy sprzątano, i — o ile to nie był moment, w którym mogła przechodzić gromadka moich dziewcząt — już nie patrzałem wyłącznie w stronę morza. Starłem się odnaleźć w rzeczywistości to, co widziałem na akwarelach Elstira, lubiłem to jak coś poetycznego; niedbały gest porzuconych nożów, wydeście zmiętej serwety, w którą słońce wszywa kawałek żółtego aksamitu, niedopity kieliszek, lepiej ukazujący w ten sposób szlachetną falistość swoich kształtów, a na dnie jego witrażu, przejrzystego i podobnego do zagełszczenia dnia, resztkę wina ciemnego, ale migocącego światłem. Zajmowało mnie przekształcanie się brył, przeobrażenie płynów pod wpływem oświetlenia, skażenie śliwek przechodzących z zielonego w niebieskie i z niebieskiego w złote w na wpół już wypróżnionym kloszu; wędrówkę starych krzesłek, dwa razy dziennie zajmujących miejsce dokoła obrusa zasłanego na stole niby na ołtarzu, gdzie się święci święto łakomstwa i gdzie w skorupkach ostrzeg parę kropel oczyszczającej wody pozostało niby w kamiennych kropielnicach. Starłem się znaleźć piękno tam, gdzie nigdy sobie nie wyobrażałem jego obecności, w rzeczach najbardziej użytkowych, w głębokim życiu „martwej natury”.

Kiedy w kilka dni po wyjeździe Roberta, zdołałem uzyskać to, by Elstir wyprawił mały podwieczorek, gdzie bym mógł spotkać Albertynę, żalowałem wdzięku i wytworności — bardzo nietrwałych — jakie podziwiano we mnie w chwili, gdy opuszczał Grand-Hotel

(a zawdzięczałem je dłuższemu spoczynkowi oraz specjalnym staraniom toaletowym); żalowałem, że nie mogę ich zachować (jak również względów Elstira) na podbój innej jakiej osoby, bardziej interesującej; żalowałem, że zużywam to wszystko na prostą przyjemność poznania Albertyny. Od czasu jak ta przyjemność była pewna, intelekt mój szacował ją bardzo nisko. Ale wola nie podzielała we mnie ani na chwilę tego złudzenia; wola, będąca wytrwałym i niezmiennym sługą naszych kolejnych osobowości; ukryta w cieniu, pogardzana, niestrudzenie wierna, wciąż starająca się — bez troski o odmiany naszego *ja* — aby mu nigdy nie brakło tego, co niezbędne. I tak w chwili, gdy ma się ziszczyć upragniona podróż, podczas gdy inteligencja i wrażliwość zaczynają się pytać, czy w istocie ta podróż warta jest naszego trudu, wola, świadoma, iż gdyby się ta podróż okazała niemożliwą, owi gnuśni panowie natychmiast zaczęliby widzieć w niej wszystkie uroki — wola pozwala im rozprawiać przed dworcem i piętrzyć wątpliwości, ale zajmuje się kupnem biletów i wsadza nas do wagonu we właściwej chwili. Jest równie niezmienna, jak inteligencja i wrażliwość są zmienne; że jednak jest milcząca i nie przytacza swoich argumentów, wydaje się prawie nieistniejąca; inne części naszego *ja* posłuszne są stanowczej decyzji owej woli, ale nie dostrzegając jej, podczas gdy rozróżniają wyraźnie własne niepewności. Moja wrażliwość i inteligencja urządziły tedy dyskusję nad wartością rozkoszy, jaką byłoby poznanie Albertyny, podczas gdy oglądałem w lustrze *czcze* i *kruche* powaby, które one byłyby chciały zachować na inną sposobność. Ale wola nie pozwoliła przegapić godziny, gdy trzeba było jechać; ona to dała woźnicy adres Elstira. Skoro kości były już rzucone, inteligencja i wrażliwość miały wszelką swobodę uważać, że szkoda fatygi. Gdyby moja wola podała inny adres, ładnie byłyby wpadły!

Kiedy z małym opóźnieniem przybyłem do Elstira, zdawało mi się zrazu, że panny Simonet nie ma w pracowni. Siedziała tam wprawdzie młoda dziewczyna w jedwabnej sukni, z gołą głową, ale nie znałem ani jej wspaniałych włosów, ani nosa, ani tej cery i nie odnajdywałem w niej istności, jaką wydobyłem z młodej cyklistki przechadzającej się nad morzem w polo na głowie. A jednak była to Albertyna. Ale nawet kiedy już wiedział o tym, nie zajmowałem się nią. Wchodząc na wszelką zabawę, młody człowiek umiera dla samego siebie, staje się innym człowiekiem, każdy bowiem salon jest nowym światem, gdzie, podlegając prawom innej perspektywy duchowej, skupiamy swoją uwagę — tak jakby to wszystko miało być ważne na wieki — na osobach, na tańcach, na partiach kart, o których zapomnimy nazajutrz. Aby dotrzeć do rozmowy z Albertyną, trzeba mi było iść bynajmniej nie przeze mnie wytyczoną drogą, zatrzymującą się najpierw przy Elstirze, wiodącą przez inne grupy gości, którym mnie przedstawiano, potem koło bufetu, gdzie mnie częstowano i gdzie jadł ciastka z truskawkami; potem przystanąłem, aby posłuchać jakiejś muzyki i przyznawałem wszystkim tym epizodom tę samą ważność, co aktowi mojej prezentacji pannie Simonet. Była już tylko epizodem jednym z wielu; całkowicie zapomniałem, że kilka minut wprzód była jedynym celem mego przybycia.

Czyż nie jest tak zresztą w życiu z naszym prawdziwym szczęściem, z wielkimi nieszczęściami? Będąc w towarzystwie, otrzymujemy od przedmiotu naszej miłości przychylną lub zabójczą odpowiedź, której oczekiwaliśmy od roku. Ale trzeba dalej rozmawiać, myśli gromadzą się, tworząc powierzchnię, spod której ledwie od czasu do czasu wylania się głucho o ileż głębsze, lecz bardzo ciasne wspomnienie tego, że spadło na nas nieszczęście. Jeżeli zamiast nieszczęścia przyjdzie szczęście, może się zdarzyć, że aż w wiele lat później przypominamy sobie, iż największe wydarzenie naszego sercowego życia — przy czym nie mieliśmy czasu użyczyć mu długiej uwagi, niemal uświadomić go sobie — zdarzyło się na przykład na zebraniu towarzyskim, dokąd udaliśmy się jedynie w oczekiwaniu tego wydarzenia.

W chwili gdy mnie Elstir zawołał, aby mnie przedstawić Albertynie, siedzącej opodal, skończyłem najpierw jeść ciastko z kremem i poprosiłem z zainteresowaniem starszego pana (dopiero co poznałem go i ofiarowałem mu różę, którą podziwiał w mojej butonierce), aby mi udzielił szczegółów co do jarmarków normandzkich. To nie znaczy, aby prezentacja nie sprawiła mi przyjemności i nie przybrała w moich oczach niejakiej powagi. Co się tyczy przyjemności, poznałem ją oczywiście aż później, kiedy, wróciwszy do hotelu, zostawszy sam, stałem się z powrotem sobą. Przyjemności są jak fotografie. To, co zdejmujemy w obecności ukochanej istoty, to jest negatyw; wywołujemy go później,

Obyczaje, Zabawa,  
Spotkanie

znalazłszy się u siebie, kiedy mamy do dyspozycji ową wewnętrzną *camerę obscurę*, do której wejście jest „wzbronione”, dopóki jesteśmy wśród ludzi.

Jeżeli poznanie przyjemności opóźniło się w ten sposób dla mnie o kilka godzin, w zamian za to powagę tej prezentacji odczułem natychmiast. W chwili prezentacji czujemy się nagle obdarowani, czujemy się okazicielami „bonu” na przyszłe przyjemności, za którym to bonem upędzaliśmy się od tygodni; z drugiej strony rozumiemy, że jego uzyskanie kładzie dla nas koniec nie tylko uciążliwej gonitwie, co mogłoby jedynie przejąć nas radością — ale także bytowi pewnej istoty, zniekształconej przez naszą wyobraźnię, powiększonej przez nasz trwożliwy lęk, że ona nigdy nas nie pozna. W chwili gdy nasze nazwisko zabrzmiało w ustach przedstawiającego, zwłaszcza jeżeli ów dopełni go (jak w tym wypadku Elstir) pochwalnym komentarzem, chwili sakramentalnej — analogicznej do tej, gdy w feerii wróżka nakazuje jakiejś osobie, aby się stała inną — istota, do której pragnęliśmy się zbliżyć, ginie. I jakimż cudem pozostałaby podobną samej sobie! Siłą uwagi, jakiej nieznajoma musi użyć naszemu nazwisku i okazać naszej osobie, w oczach jej, wczoraj pomieszczonych w nieskończoności — oczach, o których myśleliśmy, że nasze błędne, niepewne, zrozpaczone, rozbieżne oczy nigdy nie zdołają ich spotkać — własny nasz obraz, odmalowany niby w uśmiechającym się zwierciadle, cudownie i całkiem po prostu zastąpił świadome spojrzenie, niepoznawalną myśl, której szukaliśmy. Jeżeli wcielenie nas samych w to, co nam się zdawało najbardziej od nas różne, najwięcej modyfikuje osobę właśnie poznaną, kształt tej osoby pozostaje jeszcze dosyć mglisty; i możemy sobie zadawać pytanie, czy ona będzie bogiem, stołem czy miednicą. Ale nieliczne słowa, jakie nam rzuci nieznajoma, równie zwinne jak i owi artyści, którzy lepią w naszych oczach biust z wosku w ciągu pięciu minut, określa tę formę i dadzą jej coś ostatecznego, co wykluczy wszystkie hipotezy, na jakie się wczoraj puszczały nasze pragnienia i nasza wyobraźnia.

Bez wątpienia, zanim nawet przyszedłem na ten podwieczorek, Albertyna nie była już dla mnie całkowicie owym jedynym widmem, godnym nawiedzać nasze życie, jakim zostaje mijająca nas osoba, o której nie wiemy nic, którą zaledwieśmy rozróżnili. Jej pokrewieństwo z panią Bontemps już ograniczyło te cudowne hipotezy, zamykając jedną z dróg, przez które mogły się rozprzestrzenić. W miarę jak się zbliżałem do młodej dziewczyny i jak ją poznawałem lepiej, znajomość ta dokonywała się przez odejmowanie, przy czym każdą cząstkę wyobraźni i pragnienia zastępowało pojęcie warte nieskończenie mniej, pojęcie pomnożone co prawda rodzajem ekwiwalentu, podobnego (w dziedzinie życia) temu, co towarzystwa finansowe wydają po spłaceniu akcji pierwotnej i co nazywają akcją użytkową. Nazwisko i parantele Albertyny były pierwszą granicą postawioną moim domysłem. Jej uprzejmość (podczas gdy rozmawiając z nią, odnajdywałem jej pieprzyk na policzku pod okiem) była drugą granicą; zdziwiłem się wreszcie, słysząc, jak posługuje się przysłówkiem „absolutnie” zamiast „zupełnie”. Mówiąc o dwóch osobach, powiadała o jednej, że „jest absolutnie wariatka, ale i tak bardzo miła”, a o drugiej, że „to jest człowiek absolutnie pospolity i absolutnie nudny”. Jakkolwiek ten wybór słowa „absolutnie” zamiast „zupełnie” nie jest zbyt szczęśliwy, świadczy on o stopniu cywilizacji i kultury, o który bym nie posądził cyklistowskiej bachantki, orgiastycznej muzyki golfa. Co nie przeszkadza zresztą, że po tej pierwszej metamorfozie Albertyna miała się jeszcze zmienić dla mnie wiele razy. Przymioty i wady, jakie dana osoba ukazuje na pierwszym planie swojej twarzy, układają się wedle zupełnie innych proporcji, o ile do niej przystąpimy z innej strony — tak jak w jakimś mieście budowle rozrzucone w jednym szeregu, z innej perspektywy biegną w głąb i zmieniają swoje względne wymiary. Na początek stwierdziłem u Albertyny minę dość onieśmieloną w miejsce nieubłaganej; zdawała mi się raczej poprawna niż źle wychowana, jeżeli o tym sądzić z epitetów: „ona jest w złym tonie, ona ma dziwną manierę”, stosowanych do wszystkich pańien, o których jej mówiłem. Centralny punkt jej twarzy stanowiła skroń zaogniona i dość niemiła do patrzenia, w zamian zaś nie miała już owego szczególnego spojrzenia, które utkwilo mi w pamięci. Ale to była jedynie druga perspektywa, a były z pewnością inne, przez które miałem przejść kolejno. Toteż poznawszy po omacku początkowe błędy optyki, można by dojść do dokładnego poznania jakiejś istoty, o ile to poznanie jest możliwe. Ale nie jest możliwe; bo podczas gdy korygujemy naszą wizję tej osoby, ona sama, nie będąc martwym obiektem, zmienia się znowuż; chcemy ją pochwycić, ona zmienia miejsce, i myśląc, że ją widzimy nareszcie



jaśniej, pochwyciliśmy jedynie jej dawne obrazy, które zdołaliśmy oświetlić, ale które jej już nie przedstawiają.

Jednakowoż, jakie bądź nieuniknione zawody ma przynieść ów krok ku temu, cośmy jedynie na chwilę ujrzeni, cośmy mieli możność sobie wyroić, krok ten jest jedyny zdrowy dla zmysłów, podsycający ich apetyt. Jakąż tępą nudą nacechowane jest życie ludzi, co przez lenistwo lub trwożliwość udają się wprost powozem do przyjaciół, których poznali, nie marząc wprzód o nich, nie śmiejąc nigdy w drodze zatrzymać się przy tym, czego pragną.

Wróciłem, myśląc o tym podwieczorku, widząc ciastko z kremem, które skończyłem jeść, zanim się zdecydowałem podejść z Elstirem do Albertyny, różę ofiarowaną starszemu panu, wszystkie szczegóły wybrane bez naszej wiedzy przez okoliczności i składające dla nas, w specjalnej i przypadkowej kompozycji, obraz pierwszego spotkania. Ale miałem wrażenie, że oglądam ten obraz z innego punktu widzenia, z bardzo daleka od samego siebie, zrozumiałem, że on istniał nie tylko dla mnie, kiedy w kilka miesięcy później, ku memu zdumieniu, gdym mówił Albertynie o pierwszym dniu, w którym ją poznałem, ona przypominała mi ciastko, ofiarowany kwiat, wszystko... Myślałem, iż to wszystko było, nie mogę powiedzieć, ważne tylko dla mnie, ale spostrzeżone tylko przeze mnie; otóż odnajdywałem to — w wersji, której istnienia nie podejrzewałem — w myśli Albertyny. Od tego pierwszego dnia, kiedy, wróciwszy do domu, mogłem oglądać wspomnienie, jakie wyniosłem, zrozumiałem, co za kuglarską sztuczkę świetnie wykonano i w jaki sposób rozmawiałem przez chwilę z osobą, która, dzięki zręczności prestidigitatora, nie mając nic wspólnego z ową tak długo ściganą nad morzem, została zamiast niej podstawiona. Mogłem to zresztą zgadnąć z góry, skoro dziewczynę z plaży stworzyłem ja sam. Mimo to, ponieważ w rozmowach z Elstirem utożsamiałem ją z Albertyną, czułem wobec prawdziwej Albertyny moralny obowiązek dotrzymania przyrzeczeń miłości danych Albertynie urojonej. Człowiek się zaręcza przez prokurację i czuje się w obowiązku zaślubić potem osobę podsuniętą. Zresztą o ile znikł, prowizorycznie bodaj, z mojego życia ucisk serca, do którego ukojenia wystarczyłyby pamięć poprawnych manier, zwrotu: „absolutnie pospolita” oraz błyszczącej skroni Albertyny, wspomnienie to budziło we mnie inny rodzaj pragnienia. Pragnienie to, mimo iż słodkie i wcale nie bolesne, podobne do uczucia braterskiego, mogło się z czasem stać równie niebezpieczne, rodząc we mnie ciągłą chęć ucałowania tej nowej osoby, której dobre maniere i nieśmiałość — i nieoczekiwana rozporządzalność wstrzymywały zbyt szybki pęd mojej wyobraźni, dając początek tkliwej wdzięczności. Zresztą ponieważ pamięć zaczyna od razu zdejmować klisze niezależne od siebie wzajem, usuwając wszelki związek, wszelką progresję między obrazami, ostatnia klisza nie niszczy poprzednich z kolekcji. W obliczu wzruszającej i banalnej Albertyny, z którą rozmawiałem, widziałem tajemniczą Albertynę znad morza. Były to już wspomnienia, to znaczy obrazy, z których jeden nie wydawał mi się prawdziwszy niż drugi.

Ale dokończmy tych wspomnień, to znaczy obrazów pierwszego dnia prezentacji. Starając się wywołać w pamięci mały pieprzyk pod okiem, przypominałem sobie, że raz z okna Elstira, kiedy Albertyna odchodziła, widziałem u niej ten pieprzyk na brodzie. W rezultacie, kiedy ją widział, zauważyłem, że ma pieprzyk, ale moja wędrowną pamięć wodziła go potem po twarzy Albertyny i mieściła go tu, to tam.

Czułem się dosyć rozczarowany, znajdując w pannie Simonet panienkę zbyt mało różną od tych, które znałem. Mimo to, jak mój zawód przed kościołem w Balbec nie przeszkadzał mi pragnąć ujżenia Quimperlé, Pontaven i Wenecji, tak powiadałem sobie, że o ile sama Albertyna nie jest tym, czegom się spodziewał, będę mógł przynajmniej poznać przez nią jej przyjaciółki, całą gromadkę.

Myślałem zrazu, że mi się to nie uda. Ponieważ i ja, i Albertyna mieliśmy zostać jeszcze długo w Balbec, uważałem, że lepiej będzie nie starać się zbyt jej zobaczyć, czekając sposobności, która mi ją pozwoli spotkać. Ale choćby się to zdarzało co dzień, można się było bardzo obawiać, że ona poprzestanie na oddaniu mi z dala mego ukłonu, który w takim razie, choćby powtarzany codziennie przez cały sezon, nie doprowadziłby do niczego.

Niedługo potem, pewnego rana, kiedy deszcz padał i kiedy było prawie zimno, zaczęła mnie na promenadzie młoda dziewczyna w toczku i z mufką, tak odmienna od tej, którą widziałem u Elstira, że poznać w niej tę samą osobę zdawało się niemożliwą ope-

racją intelektualną; umysł mój dokonał tej operacji, ale po sekundzie zdziwienia, które, zdaje mi się, nie uszło uwagi Albertyny. Z drugiej strony, przypominając sobie jej „dobre maniere”, które mnie uderzyły, zdziwiłem się, przeciwnie, jej szorstkim tonem i stylem „bandy”. Zresztą skroń przestała być optycznym i uspokajającym centrum jej twarzy, bądź że stałem z innej strony, bądź że zasłonił ją toczek, bądź też że ten stan zapalny nie był czymś trwałym.

— Co za czas — rzekła do mnie — w gruncie rzeczy, to wieczne lato w Balbec, to ostra bujda. Pan nic nie robi tutaj? Nigdy się pana nie widzi na golfie, na balu w kasynie, konno pan też nie jeździ? Musi się pan nudzić jak mops. Nie uważa pan, że człowiek kretynieje, tkwiąc tak cały czas na plaży? A, pan lubi robić jaszczurkę na piasku. Ma pan zresztą czas. Widzę, że pan nie jest jak ja, ja uwielbiam wszystkie sporty! Nie był pan na wyścigach w Sogne? Myśmy tam pojechały tramwajem; rozumiem, że pana nie bawi dosiadać takiego żółwia! Tryndałyśmy się dwie godziny! Byłabym tam zajechała i wróciła trzy razy na bicyklu.

Ja, który podziwiałem Roberta, kiedy lokalną kolejkę żelazną nazywał całkiem naturalnie „samowarek” z powodu jej lokomotywy, czułem się onieśmielony łatwością, z jaką Albertyna mówiła „tramwajans” i „tryndać się”. Czułem jej mistrzostwo w gwarze, bojąc się równocześnie, aby nie stwierdziła ze wzgardą mojej w tym niższości. A jeszcze nie znałem wówczas całego bogactwa synonimów, jakie posiadała „banda” na określenie tej kolejki żelaznej. Mówiąc, Albertyna trzymała głowę nieruchomo, ściskając nozdrza, poruszała jedynie końcem warg. Wynikał z tego dźwięk przeciągły i nosowy, w którego skład wchodziły może dziedziczności prowincjonalne, młodzieńcza afektacja angielskiej flegmy, lekcje nauczycielki-cudzoziemki i przerost błony śluzowej nosa, połączony z obrzękiem. Ta emisja głosu, która ustępowała zresztą prędko, kiedy Albertyna знаła kogoś bliżej i stawała się naturalnie dziecinna, mogłaby uchodzić za nieprzyjemną. Ale była niezwykła, zachwycała mnie. Za każdym razem, kiedy przez kilka dni nie spotkał Albertyny, podniecałem się, powtarzając sobie: „Nie widzi się pana nigdy na golfie”, nosowym tonem, jakim ona to wyrzekła, wyprostowana, nie ruszając głową. I myślałem wówczas, że nie ma w świecie osoby bardziej upragnionej.

Tworzyliśmy tego rana jedną z owych par, które urozmaicają tu i ówdzie promenadę swoimi spotkaniami, przystawaniem, ot tyle, aby wymienić kilka słów, zanim się rozłączą, podejmując każde oddzielnie swoją przechadzkę. Skorzystałem z tej nieruchomości, aby odkryć i stwierdzić ostatecznie, gdzie się znajduje pieprzyk. Otóż, jak fraza Vinteuila, która mnie oczarowała w jego sonacie i której pamięć moja pozwalała błędzić od andante do finału, aż do dnia, gdy mając partycję w ręce, mogłem ją odnaleźć i unieruchomić we wspomnieniu na właściwym miejscu, w scherzo, tak samo pieprzyk, który sobie przypominałem to na policzku, to na brodzie, zatrzymał się na zawsze na górnej wardze pod nosem. W taki sam sposób odnajdujemy ze zdumieniem wiersze, które umiemy na pamięć, w utworze, gdzie nie podejrzewaliśmy ich istnienia.

W tej chwili, jak gdyby po to, aby cały bogaty dekoracyjny zespół, piękny orszak dziewic, złocistych wraz i różowych, spalonych słońcem i wiatrem, rozwinął się swobodnie na tle morza, w różnaitości swoich form, przyjaciółki Albertyny, pięknonogie, gibkie, ale tak różne od siebie, zjawily się całą gromadką, posuwając się ku nam po linii równoległej do morza. Poprosiłem Albertynę, abym jej mógł towarzyszyć przez kilka chwil. Na nieszczęście, zadowolila się pozdrowieniem towarzyszek ręką.

— Ale pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeśli je pani opuści — rzekłem w nadziei, że pospacerujemy razem.

Młody człowiek o regularnych rysach, niosący rakiety, zbliżył się do nas. Był to gracz w bakarata, którego szalenstwa tak oburzały żonę prezydenta. Z chłodną i obojętną miną, w której zapewne widział szczyt dystynkcji, przywitał się z Albertyną.

— Wracasz z golfa, Oktawie? — spytała. — Czy dobrze poszło, jesteś w dobrej formie?

— Och, obrzydliwie, naprali mnie — odparł.

— Czy Anna była?

— Tak, zrobiła siedemdziesiąt siedem.

— Och, ależ to rekord!

— Ja zrobiłem osiemdziesiąt dwa wczoraj.

Był to syn bardzo bogatego przemysłowca, mającego odgrywać dość ważną rolę w organizacji najbliższej Wystawy Powszechnej. Uderzyło mnie, do jakiego stopnia u tego młodego człowieka i u innych nielicznych męskich przyjaciół tych młodych dziewcząt znajomość wszystkiego, co się tyczyło stroju, mód, cygar, angielskich napoi, koni — znajomość, którą ów Oktaw posiadał w najdrobniejszych szczegółach z dumną nieomylnością, sięgającą cichej skromności uczonego — rozwinęła się samoistnie, bez wkładu najmniejszej kultury intelektualnej. Nie miał żadnych wahań co do odpowiedniości smokinga lub pidżamy, ale nie znał właściwego użytku jakiegoś słowa, nie znał nawet najprostszych reguł języka. Ta sama rozbieżność dwóch kultur musiała istnieć u jego ojca, prezesa syndykatu właścicieli realności w Balbec, gdyż w liście otwartym do wyborców, który kazał właśnie rozlepić na wszystkich murach, oświadczył: „Udałem się do mera, aby go poinformować, nie chciałem wysłuchać moich słusznych zarzutów”. Oktaw zdobywał w kasynie nagrody na wszystkich konkursach bostona, tanga etc., co mogło mu przynieść korzystne małżeństwo w tym środowisku „kąpielowym”, gdzie nie w przenośni, ale dosłownie młode panny wychodzą za swoich „danserów”. Zapalił cygaro, mówiąc do Albertyny: „Pozwoli pani”, tak jak się, rozmawiając, prosi o pozwolenie dokończenia pilnej roboty. Bo nie mógł nigdy zostać ani chwili „nic nie robiąc”, mimo zresztą że nigdy nie robił nic. Że zaś całkowita beczynność — równie dobrze w dziedzinie ducha jak w życiu ciała i mięśni — ma w końcu te same skutki co przesadna praca, stała nicosć intelektualna mieszkająca pod myślącym czołem Oktawa zaszczerpiła mu w końcu, mimo jego spokojnego wyrazu twarzy, jałową świerzbiczkę myślenia, która w nocy nie dawała mu spać, tak jak to mogłoby się zdarzyć przepracowanemu filozofowi.

Myśląc, iż gdybym znał ich przyjaciół, miałbym więcej sposobności widywania tych dziewcząt, miałem już prosić Albertyny, aby mnie przedstawiła Oktawowi. Powiedziałem jej to, skoro odszedł, powtarzając: „naprali mnie”. Chciałem jej podsunąć tę myśl na następny raz.

— Cóż znowu — wykrzyknęła — nie mogę pana przedstawiać żigolakowi. Tutaj roi się od żigolaków. Ależ oni nie mieliby o czym rozmawiać z panem. Ten gra bardzo dobrze w golfa, punktum, kropka. Znam się na tym, to nie byłby zupełnie pana rodzaj.

— Pani przyjaciółki będą się czuły pokrzywdzone, jeżeli je pani tak zostawi — rzekłem w nadziei, że mi zaproponuje, abyśmy do nich podeszli.

— Ale nie, one wcale mnie nie potrzebują.

Minęliśmy Blocha, który obrzucił mnie sprytnym i znaczącym uśmiechem, po czym, zakłopotany widokiem Albertyny, której nie znał lub przynajmniej znał „ot tak”, wsunął głowę w kołnierz sztywnym i niechętnym ruchem.

— Jak się nazywa ten Arab? — spytała Albertyna. — Nie wiem, czemu on mi się kłania, kiedy mnie nie zna. Toteż mu się nie odkloniłam.

Nie miałem czasu odpowiedzieć, bo Bloch podeszedł prosto do nas i rzekł:

— Daruj mi, że ci przerywam, ale chciałem cię uprzedzić, że jutro jadę do Doncières. Nie mogę dłużej zwlekać bez niegrzeczności; doprawdy sam nie wiem, co Saint-Loup-en-Bray musi o mnie myśleć. Uprzedzam cię, że jadę pociągiem o drugiej. Zrób, jak zechcesz.

Ale ja już myślałem tylko o tym, aby znów spotkać Albertynę i poznać jej przyjaciółki. Doncières wydawało mi się na końcu świata; one tam nie jechały, ja zaś, wróciwszy stamtąd, nie zastałbym ich już na plaży. Powiedziałem Blochowi, że niepodobna mi jechać.

— Więc dobrze, jadę sam. Wedle dwóch pociesznych aleksandrynow imć pana Arouet de Voltaire, powiem margrabiemu de Saint-Loup, aby pogłaskać jego klerikalizm: „Wiedz, że moja powinność idzie swoją drogą, mnie jej chybić nie wolno, chociaż inni mogą”.

— Uznaję, że jest dość ładny chłopiec — rzekła Albertyna — ale jak on mnie brzydzi!

Nigdy nie pomyślałem, aby Bloch mógł być ładnym chłopcem; był nim w istocie. Z głową nieco zbyt wydatną, z nosem bardzo garbatym, z miną nadzwyczaj sprytną i przeświadczoną o swoim sprycie, twarz miał przyjemną. Ale nie mógł się podobać Albertynie. Wynikało to może zresztą z jej złych stron, z twardości, z nieczułości małej gromadki, z jej brutalności wobec wszystkiego poza nią. Później zresztą, kiedy ich zapoznałem z sobą, antypatia Albertyny nie zmniejszyła się. Bloch należał do kół, gdzie między bufonadą

uprawianą w salonach a dostatecznym mimo to szacunkiem dla dobrych manier, obowiązujących człowieka mającego „czyste ręce”, uczyniono rodzaj specjalnego kompromisu różniącego się od manier „świata”, a będącego mimo to osobliwie antypatycznym rodzajem światowości. Kiedy go komuś przedstawiano, Bloch kłaniał się ze sceptycznym uśmiechem, a równocześnie z przesadnym szacunkiem; jeżeli to był mężczyzna, mówił: „Bardzo mi przyjemnie” głosem, który drwił sobie z wypowiedzianych słów, ale z poczuciem, że wychodzi z ust człowieka pełnego dystynkcji. Oddawszy tę pierwszą chwilę zwyczajowi, którego przestrzegał i z którego drwił sobie równocześnie (tak jak mówił na Nowy Rok: „Życzę panu szczęścia i pomyślności”), Bloch przybierał sprytną minę i „wygłaszał rzeczy subtelne”, często pełne prawdy, ale „dające na nerwy” Albertynie. Kiedym jej powiedział pierwszego dnia, że on się nazywa Bloch, wykrzyknęła: „Byłabym się założyła, że to Żyd. Tacy wciskają się wszędzie, jak pluskwy”. Zresztą w przyszłości Bloch miał drażnić Albertynę na inny sposób. Jak wielu intelektualistów, nie umiał mówić po prostu rzeczy prostych. Na wszystko znajdował pretensjonalne określenie, przy czym uogólniał. To nudziło Albertynę, nie bardzo lubiącą, aby się zajmowano tym, co ona robi. Gdy raz skręciła nogę i skazana była na nieruchomość, Bloch powiedział: „Spoczywa na leżaku, ale mocą swojej wszechobecności nie przestaje równocześnie błądzić po mglistych golfach i zagadkowych tenisach”. To była tylko „literatura”, ale z powodu kłopotów, jakich mogła narobić Albertynie z osobami, od których zaproszeń się wymówiła, powiadając, że się nie może ruszać, wystarczyło to, aby zniecierpiała fizys i głos osobnika mówiącego te rzeczy.

Rozstaliśmy się z Albertyną, przyrzekając sobie kiedyś pójść gdzie razem. Rozmawiałem z nią, tak samo nie wiedząc, gdzie padają moje słowa i co się z nimi dzieje, co gdybym rzucał kamyczek w otchłań bez dna. Że na ogół osoba, do której je zwracamy, wypełnia je sensem, dobytym z własnej jej istoty, bardzo różnym od sensu włożonego przez nas w te same słowa, to fakt, potwierdzany wciąż przez życie. Ale jeżeli, co więcej, znajdziemy się wobec osoby, której wychowanie (jak dla mnie wychowanie Albertyny) jest nieodgadnione, której skłonności, lektury, zasady są nam nieznane, nie wiemy, czy nasze słowa wywołują w niej coś mającego z nimi związek, bardziej niż u zwierzęcia, któremu można by przecież dać zrozumieć pewne rzeczy. Tak iż próba zbliżenia się z Albertyną wydawała mi się zetknięciem jeśli nie z Niemożliwym, to z Nieznanym; ćwiczeniem równie trudnym jak tresować konia, równie odprężającym jak hodować pszczoły lub róże.

Kilka godzin przedtem myślałem, że Albertyna odpowie na mój ukłon jedynie z daleka. Rozstaliśmy się, robiąc projekty wspólnej wycieczki. Przyrzekłem sobie być śmielszy, kiedy znów spotkam Albertynę; obmyśliłem plan wszystkiego, co jej powiem, a nawet (teraz, kiedym zyskał przeświadczenie, że ona musi być łatwa) wszystkich słodyczy, jakich od niej zażądam. Ale duch ulega wpływom, jak roślina, jak komórka, jak składniki chemiczne, a środowiskiem, które go zmienia, gdy go w nie zanurzymy, są okoliczności, nowa rama. Kiedym się znalazł z Albertyną, wówczas, stawszy się innym przez fakt jej obecności, mówiłem jej całkiem co innego niż zamierzyłem. Potem, przypominając sobie zaognioną skroń, zastanawiałem się, czy Albertyna nie więcej ceni uprzejmość, o której by wiedziała, że jest bezinteresowna. A wreszcie czułem się zakłopotany wobec niektórych jej spojrzeń, uśmiechów. Mogły oznaczać łatwość, lecz także dziecinne rozbawienie młodej dziewczyny, żywej, ale o uczciwym gruncie. Ten sam wyraz w fizjonomii czy mowie może mieć różne znaczenia; wahałem się niby uczeń wobec trudności greckiego tekstu.

Tym razem spotkaliśmy prawie zaraz ową „dużą”, Annę — tę, co skoczyła przez prezydenta sądu. Albertyna musiała mnie przedstawić. Przyjaciółka jej miała oczy bardzo jasne, niby w mrocznym mieszkaniu otwarte drzwi pokoju, do którego wchodzi słońce i zielonkawy odbłask promiennego morza.

Minęło nas pięciu panów, których znałem bardzo dobrze z widzenia, odkąd byłem w Balbec. Często zastanawiałem się, kto by to mógł być.

— To nie są ludzie zbyt eleganccy — rzekła Albertyna podśmiewając się wzgardliwie. — Ten mały stary, w żółtych rękawiczkach, ładny kwiatek, he? niech go drzwi ścisną, to dentysta z Balbec, zacne *homo*; ten gruby to mer; nie ten najmniejszy grubas, którego pan już musiał widzieć, to nauczyciel tańców; także dobry patalch, nie może nas znosić, że za wiele robimy hałasu w kasynie, że niszczy mu krzesła, że chcemy tańczyć bez dywanu, toteż nigdy nie dał nam nagrody, mimo że my jedne tam umiemy tańczyć. Dentysta to dobre człeczysko; byłabym mu się ukłoniła, żeby wściec nauczyciela tańca, ale nie mogłam,

bo był z nimi pan de Sainte-Croix, generalny radca, człowiek z bardzo dobrej rodziny, który przeszedł do republikanów za pieniądze, nikt przyzwoity mu się nie kłania. Zna mojego wuja, niby „z powodu rząd”, ale reszta mojej rodziny wypięła się na niego. Ten chudy w nieprzemakalnym płaszczu to kapelmistrz. Jak to, nie zna go pan! Bosko gra. Nie był pan posłuchać *Cavalleria rusticana*? Och, mnie się to wydaje szczyt. Daje koncert dziś wieczór, ale nie możemy iść, bo to się odbywa w merostwie. W kasynie to obleci, ale w sali merostwa, skąd usunięto krzyż, matkę Anny trafilyby szlag, gdybyśmy tam poszły. Powie mi pan, że mąż mojej ciotki jest w rządzie. Cóż pan chce! Ciotka to ciotka. I nie za to ją kocham! Miała zawsze tylko jedno pragnienie: pozbyć się mnie. Osoba, która naprawdę zastąpiła mi matkę i która ma podwójną zasługę, bo nie jest mi niczym, to pewna przyjaciółka, którą kocham zresztą jak matkę. Pokażę panu jej fotos.

Na chwilę podszedł do nas szampion golfa i bakarata, Oktaw. Sądziłem, że odkrył jakiś punkt styczności między nami, bo dowiedziałem się w rozmowie, że on jest trochę krewny Verdurinów i że go nawet dosyć lubią. Ale on mówił z lekceważeniem o sławnych *środach* i dodał, że pan Verdurin nie zna użytku smokinga, co czyni dosyć kłopotliwym spotkanie go w pewnych music-hallach, gdzie wolałoby się nie słyszeć okrzyków: „jak się masz, smarkaty” wydawanych przez pana w marynarce i w czarnym krawacie z miną prowincjonalnego rejenta. Potem Oktaw pożegnał nas, z kolei pożegnała się Anna, która doszła do willi, gdzie mieszkała, nie odezwawszy się do mnie w ciągu całej przechadzki ani słowa. Zwróciłem uwagę Albertyny, jaka jej przyjaciółka była ze mną chłodna. Wyrażną niechęć Albertyny do tego, aby mnie zapoznać z przyjaciółkami, zestawiałem w myśli z wrogością, na jaką musiał się natknąć pierwszego dnia Elstir, kiedy chciał ziszczyć moje pragnienie.

Załowałem tym bardziej odejścia Anny, gdyż w tej samej chwili minęły nas młode panny, którym się ukloniłem, panny d'Ambresac; Albertyna pozdrowiła je również. Myślałem, że to poprawi moją sytuację wobec Albertyny. To były córki krewniaczki pani de Villeparisis, znające również panią de Luxembourg. Państwo d'Ambresac, mający willę w Balbec, nadzwyczaj bogaci, prowadzili życie bardzo skromne; mąż zawsze w jednej i tej samej marynarce, żona w ciemnej sukni. Oboje składali mojej babce głębokie ukłony, nieprowadzące do niczego. Córki, bardzo ładne, ubierały się z większą elegancją, ale elegancją miejską, nie kąpielową. W swoich długich sukniach i wielkich kapeluszach zdawały się należeć do innej ludzkości niż Albertyna. Ona wiedziała bardzo dobrze, kto to jest.

— A, pan zna młode d'Ambresac? Nie ma co, zna pan ludzi bardzo szykownych. Zresztą oni są bardzo prości — dodała, tak jakby to były rzeczy sprzeczne z sobą. — One są miłutkie, ale tak dobrze wychowane, że rodzice nie puszczają ich do kasyna, zwłaszcza z powodu nas, niby że my jesteśmy zanadto skandaliczne. Podobają się panu? Ba, to zależy. Istne białe gąski, to może ma swój wdzięk. Jeżeli pan lubi białe gąski... Zdaje się, że mogą się podobać, skoro jedna już jest zaręczona z margrabią de Saint-Loup. To bardzo martwi młodszą, która się kochała w tymże. Mnie denerwuje sam ich sposób mówienia z zamkniętymi ustami. Przy tym ubierają się śmiesznie. Grają w golfa w jedwabnych sukniach! W swoim wieku ubierają się pretensjonalniej niż starsze kobiety, kiedy się umieją ubrać. Ot, pani Elstir, oto kobieta elegancka.

Odpowiedziałem, że mi się zdaje, iż pani Elstir ubiera się bardzo skromnie. Albertyna zaczęła się śmiać.

— Ubiera się bardzo skromnie, to prawda, ale ubiera się cudownie i aby osiągnąć to, co pan nazywa „skromnie”, wydaje szalone pieniądze.

Suknie pani Elstir uchodziły uwagi kogoś, kto nie miał niezawodnego i dyskretnego smaku w sprawach toalety. Brakowało mi tego zmysłu. Elstir miał go w najwyższym stopniu, zdaniem Albertyny. Nie byłbym się domyślił ani tego, iż rzeczy wytworne lecz proste, wypełniające jego pracownię, to były cudy od dawna upragnione przez niego, tropił je po licytacjach, znał całą ich historię, aż do dnia, gdy zarobił dość pieniędzy, aby je móc posiadać. Ale na tym punkcie Albertyna była równie ciemna jak ja, nie mogła mnie oświecić. Natomiast co do toalet, oświecona instynktem kokietki i może żalem ubogiej dziewczyny, bezinteresowniej i subtelniej smakującej u bogaczy to, w co nie będzie mogła się wystroić sama, umiała mówić bardzo ciekawie o wyrafinowaniu Elstira. Był tak wybredny, że każda kobieta wydawała mu się źle ubrana; mieszcząc całe światy

w proporcjach, w odcieniach, kazał robić dla swojej żony za szalone pieniądze umbrelki, kapelusze, płaszcze, zarazem uczył Albertynę rozumieć ich piękno, którego człowiek bez smaku nie zauważyłby tak samo jak ja. Poza tym Albertyna, która malowała trochę, nie mając zresztą, jak sama przyznawała, żadnego „daru”, bardzo podziwiała Elstira i dzięki temu, co on jej mówił i pokazywał, знаła się na obrazach w sposób wielce odbijający od jej entuzjazmu dla *Cavalleria rusticana*. W istocie bowiem, mimo iż tego prawie jeszcze nie było znać, była bardzo inteligentna, a w tym, co mówiła, głupota była własnością nie jej, lecz raczej jej sfery i wieku. Elstir miał na nią wpływ szczęśliwy, ale cząstkowy. Nie wszystkie formy inteligencji osiągnęły w Albertynie jednaki stopień rozwoju. Jej gust w malarstwie prawie dogonił smak w toalecie i wszystkich formach elegancji, ale nie pociągnął za sobą gustu w muzyce, który pozostał bardzo w tyle.

Daremnie Albertyna wiedziała, kto są państwo Ambresac; mimo legitymacji z wysokich stosunków zawartej w moim ukłonie oddanym tym pannom, nie widziałem, aby była skłonniejsza zapoznać mnie z przyjaciółkami.

— Za wiele pan sobie z nich robi, doprawdy. Niech pan na nie nie zwraca uwagi, to jest wielkie nic. Co takie smarkule mogą znaczyć dla człowieka pańskiej wartości. Anna jest przynajmniej wybitnie inteligentna. To dobra dziewczyna, chociaż jest absolutna wariatka, ale tamte są doprawdy bardzo głupie.

Rozstawszy się z Albertyną, odczułem nagle żywą przykrość z powodu tego, że Saint-Loup zataił mi swoje zareczyny i że robi rzecz tak nieładną, żeniąc się, nie zerwawszy wprzód z kochanką. W kilka dni potem przedstawiono mnie Annie i rozmawialiśmy z sobą dość długo; skorzystałem z tego, aby powiedzieć, że bardzo bym pragnął ujrzeć ją nazajutrz; odpowiedziała, że to niemożliwe, bo matka jej ma się niezbyt dobrze i nie chciałaby jej zostawiać samej. W dwa dni potem, kiedy zaszedł do Elstira, powiedział mi, że Anna ma dla mnie wiele sympatii, na co odrzekłem:

— Ależ to ja mam dla niej wiele sympatii od pierwszego dnia; chciałem ją zobaczyć zaraz nazajutrz, ale nie mogła.

— Tak, wiem, mówiła mi — rzekł Elstir — dosyć tego żałowała, ale obiecała się na piknik o parę mil stąd, miała tam jechać breakiem i nie mogła zrobić zawodu.

Mimo że to kłamstwo było, wobec naszej nikłej znajomości, bardzo niewinne, nie powinienem był utrzymywać dalszych stosunków z osobą do niego zdolną. Bo co ktoś raz zrobił, będzie to powtarzał w nieskończoność. I jeżeli się wybierzemy co roku, aby się spotkać z przyjacielem, który za pierwszym razem nie mógł przyjść na schadzki lub był zakatarzony, trafimy na jego nowy katar, zrobi nam zawód przy nowym spotkaniu, na które znów nie przyjdzie, dla tej samej i ciągłej przyczyny, w której miejsce znajdzie rozmaite powody dostrojone do okoliczności.

Wkrótce po owym dniu, kiedy Anna powiedziała mi, że musi zostać z matką, spacerowałem trochę z Albertyną; spostrzegłem ją podrzucającą na sznurku dziwaczny przedmiot, który czynił ją podobną do *Batwochwalstwa* Giotta: nazywa się „diabolo” i tak dalece uległ zapomnieniu, że przed portretem młodej dziewczyny trzymającej ten instrument przyszli komentatorowie będą mogli rozprawiać jak przed jakąś alegoryczną figurą z Santa Maria dell’Arena, zastanawiając się, co ona ma w ręce. Po chwili przyjaciółka ich, o wyglądzie ubogim i twardym, ta, co pierwszego dnia śmiała się tak złośliwie: „Żal mi tego starego”, mówiąc o starszym panu muśniętym lekkimi stopami Anny, podeszła do Albertyny: „Dzień dobry, przeszkadzam państwu?”. Zdjęła kapelusz, który jej zawadzał, i włosy jej niby jakaś uroczą i nieznaną roślinność pokrywały jej czoło w drobiazgowej subtelności swego ulistnienia. Albertyna, może podrażniona tym obnażeniem głowy, nie odpowiedziała nic, zachowała lodowate milczenie, mimo którego tamta została. Ale Albertyna trzymała ją na odległość ode mnie, to idąc z nią sama, to znów zbliżając się do mnie, a zostawiając przyjaciółkę w tyle. Aby uzyskać to, żeby mnie przedstawiła, musiałem wręcz poprosić Albertyny wobec tamtej. Wówczas w chwili, gdy wymieniła moje nazwisko, na twarzy i w niebieskich oczach owej dziewczyny, która mi się wydała tak okrutna, gdy mówiła: „Biedny stary, żal mi go”, ujrzałem przebłysk serdecznego i przyjaznego uśmiechu, z jakim wyciągnęła do mnie rękę. Włosy miała złociste i nie tylko włosy; bo jeżeli policzki jej były różowe, a oczy niebieskie, robiło to wrażenie nieba jeszcze zaróżowionego porankiem, gdzie wszędzie przebija i błyszczący złoto.

Zapalając się natychmiast, powiedziałem sobie, że to jest dziecko nieśmiałe, gdy kocha, i że to dla mnie, przez miłość dla mnie, została z nami mimo opryskliwości Albertyny. Musiała się czuć szczęśliwa, mogąc mi wyznać wreszcie tym pocziwym i uśmiechniętym spojrzeniem, że byłaby równie słodka dla mnie jak groźna dla innych. Z pewnością zauważyła mnie na plaży, kiedy jej jeszcze nie znałem i myślała od tego czasu o mnie; może to dlatego, aby obudzić mój podziw, drwiła sobie ze starego pana i może dlatego, że się jej nie udało mnie poznać, miała przez następne dni tak smutną minę. Z hotelu widziałem ją często, przechadzającą się wieczorem po plaży. Prawdopodobnie czyniła to w nadziei ujrzenia mnie. A teraz, skrępowana obecnością Albertyny, tak samo jak byłaby skrępowana obecnością całej gromadki, czepiała się nas oczywiście, mimo coraz chłodniejszej postawy przyjaciółki, jedynie w nadziei przeczekania jej, umówienia się na chwilę, kiedy się zdoła wymknąć bez wiedzy rodziny i towarzyszek i spotkać się ze mną w bezpiecznym miejscu przed mszą lub po golfie. Tym trudniej było ją zobaczyć, gdyż Anna była z nią źle i nie cierpiała jej.

— Długo znosiłam jej straszliwy fałsz — mówiła do mnie — jej podłość, niezliczone świństwa, które mi robiła. Wszystko znosiłam przez wzgląd na inne. Ale ostatni jej kawał przepełnił miarę.

I opowiedziała mi plotkę, jaką zrobiła ta dziewczyna i która w istocie mogła zaszkodzić Annie.

Ale owych słów przyrzeczonych mi spojrzeniem na chwilę, gdy Albertyna zostawi nas razem, Gizela nie miała możliwości powiedzieć, ponieważ Albertyna tkwiła uparcie między nami, odpowiadając coraz krócej, a potem przestawszy w ogóle odpowiadać na zagadywania przyjaciółki. Wreszcie Gizela dała za wygraną. Wyrzucałem Albertynie, że była taka nieuprzejma.

— To ją nauczy być delikatniejszą. To nie jest zła dziewczyna, ale strasznie piłowata. Musi wtykać nos wszędzie. Czemu się lepi do nas nieproszona. O mały włos, a byłabym ją posłała w diabły. Zresztą nie cierpię, że ona nosi włosy w ten sposób, to bardzo w złym guście.

Patrzałem na policzki Albertyny, gdy mówiła do mnie i myślałem, jaki zapach, jaki smak mogą mieć. Tego dnia była nie tyle świeża, ile gładka, różowo-fioletowo-śmietankowa, jak pewne róże mające połysk wosku. Byłem zapalony do nich, jak można się czasami zapalić do gatunku kwiatów.

— Nie zauważyłem tego — odparłem.

— A przecież dosyć się pan jej przyglądał; można by myśleć, że pan zamierza robić jej portret — rzekła Albertyna, nieulagodzona faktem, że w tej chwili przyglądałem się tak jej samej. — Nie sądzę zresztą, aby się ona panu podobała. Ona wcale nie jest flirciara. Pan musi lubić flirciary. W każdym razie nie będzie już miała sposobności lepić się ani dopraszać się o to, aby się ją splawiło, bo już jedzie do Paryża.

— I inne pani przyjaciółki również?

— Nie, tylko ona i miss, bo ona ma zdawać egzaminy, będzie musiała obkuwać, biedna smarkata. To nie jest wesołe, ręczę panu. Może się zdarzyć, że się trafi na dobry temat. To rzecz przypadku. Na przykład jedna z koleżanek miała: „Opowiedz wypadek, którego byłaś świadkiem”. To jest klawe. Ale znam dziewczynę, która miała opracować (i to jeszcze na piśmie): „Kogo wolałbyś mieć za przyjaciela, Alcesta czy Filinta?”. Pociłabym się nad tym! Najpierw, pomijając wszystko inne, to nie jest pytanie właściwe dla młodych panien. Dziewczęta przyjaźnią się z innymi dziewczętami i nie uznaje się w zasadzie, aby miały sobie dobierać przyjaciół wśród panów. — (Zdanie to, wykazując mi nikłość moich szans, abym się dostał do „bandy”, przejęło mnie drżeniem.) — Ale w każdym razie, nawet gdyby ten problem postawiono młodym ludziom, co pan chce, żeby można wymyślić na ten temat? Wielu rodziców napisało do „Gaulois”, skarżąc się na trudność podobnych pytań. Paradne jest, że w zbiorze najlepszych zadań laureatów potraktowano dwa razy ten przedmiot w sposób absolutnie sprzeczny. Wszystko zależy od egzaminatora. Jeden chciał, żeby powiedzieć, iż Filint jest pochlebca i kret, drugi, że nie można odmówić podziwu Alcestowi, ale jest zbyt zgryźliwy i że na przyjaciela wolałoby się Filinta. Jak żądać, aby nieszczęsne uczennice się w tym wyznały, skoro profesorowie nie mogą się zgodzić? I to jeszcze nic, z każdym rokiem robi się trudniej. Gizela mogłaby się z tego wykręcić chyba fuksem.

Wróciłem do hotelu, babki nie było, czekałem długo, w końcu kiedy wróciła, błagałem ją, aby mi pozwoliła zrobić w nieoczekiwanych warunkach wycieczkę, która potrwa może dwie doby. Zjadłem śniadanie z babką, zamówiłem powóz i kazałem się zawieźć na dworzec. Gizela nie zdziwi się (tak myślałem) moim widokiem; skoro przesiądziemy się w Doncières, w paryskim pociągu jest wagon z korytarzem; gdy miss się zdrzemnie, będę mógł zaciągnąć Gizelę w ciemny kąt, umówić się z nią na Paryż po moim powrocie, który będę się starał możliwie przyspieszyć. Odwiózłbym ją do Caen lub do Évreux, jak zechce, i wróciłbym najbliższym pociągiem. Bądź co bądź, co by ona pomyślała, gdyby wiedziała, że ja się długo wahałem między nią a jej przyjaciółkami, że tak samo jak w niej, chciałem się kochać w Albertynie, w dziewczynie z jasnymi oczami, w Rozamondzie! Czulem wyrzuty teraz, kiedy wzajemna miłość miała mnie połączyć z Gizelą. Byłbym mógł zresztą upewnić ją bardzo szczerze, że Albertyna już mi się nie podoba. Widziałem ją dziś rano odchodzącą, obróconą do mnie niemal plecami, kiedy rozmawiała z Gizelą. Na jej głowie pochylonej jakby z dąsem, włosy związane z tyłu, jakieś inne i jeszcze ciemniejsze, błyszczały tak, jakby wyszła z wody. Pomyślałem o zmokłej kurze i te włosy tchnęły w Albertynę duszę inną, niż to uczyniła dotąd fioletowa twarz i tajemnicze spojrzenie. Te lśniące włosy na karku, to było wszystko, co z niej mogłem dostrzec przez chwilę, i to tylko widziałem nadal. Nasza pamięć podobna jest do sklepów, gdzie w oknie wystawia się raz tę, raz inną fotografię danej osoby. I zazwyczaj najświeższa zostaje przez jakiś czas sama jedna na wystawie.

Podczas gdy woźnica popędzał konia, słuchałem pełnych wdzięczności i czułych słów, jakie Gizela mi mówi, słów zrodzonych wyłącznie z jej przyjaznego uśmiechu i wyciągniętej dłoni; bo w okresach życia, kiedy nie byłem zakochany, a chciałem nim być, nosiłem w sobie nie tylko fizyczny ideał ujranej piękności, którą poznawałem z daleka w każdej spotkanej kobiecie na tyle odległej, aby jej zatarte rysy nie sprzeciwiały się tej identyfikacji, ale i idealne widmo — wciąż gotowe do wcielenia — kobiety, która miała mnie pokochać, miała być moją partnerką w komedii miłosnej, napisanej całkowicie w mojej głowie od czasu dzieciństwa. Wierzyłem, że każda sympatyczna młoda dziewczyna ma ochotę grać ją ze mną, byleby miała po trosze i fizyczne warunki roli. I jakakolwiek była nowa „gwiazda” powołana do kreowania lub powtórzenia roli, scenariusz, perypetie, nawet tekst, zachowywały formę *ne varietur*.

W kilka dni później, mimo biernego oporu Albertyny w zapoznaniu nas, znalazłem całą gromadkę pozostałą w komplecie w Balbec (z wyjątkiem Gizeli, której, wskutek długiego czekania przed szlabanem na dworcu oraz zmiany w rozkładzie jazdy, nie mogłem dopaść, pociąg odjechał na pięć minut przed moim przybyciem; zresztą nie myślałem już o Gizeli), co więcej parę ich przyjaciółek, z którymi zapoznały mnie na moją prośbę. W ten sposób, skoro nadzieja przyjemności przeczuwanych w nowo poznanej pochodziła od innej, przez którą poznałem tamtą, ostatnia była wówczas jak gdyby odmianą róży, uzyskaną dzięki róży innego gatunku. I posuwając się od korony do korony w tym łańcuchu kwiatów, przyjemność poznania odmiennego kwiatu kazała mi wracać do tego, któremu je byłem winien, z wdzięcznością zabarwioną pragnieniem w tym samym stopniu co moja świeża nadzieja. Niebawem spędzałem całe dni z tymi dziewczętami.

Niestety! w najświeższym kwiecie można dojrzeć niedostrzegalne punkty, znaczące dla świadomej myśli już to, co — przez wysychanie lub owocowanie tkanek dziś będących w kwiecie — stanie się niezmienną i już predestynowaną formą ziarna. Śledzimy z rozkoszą nosek podobny lekkiej fali, gdy rozkosznie wzdyma ranną wodę, prawie nieruchoma, o wyraźnym konturze, bo morze jest tak spokojne, że nie czujemy przypływu. Twarze ludzkie nie zmieniają się w chwili, gdy się na nie patrzy, bo przeobrażenie, jakiemu ulegają, jest zbyt powolne, tym samym niedostrzegalne. Ale wystarczyło widzieć obok tych młodych dziewcząt ich matkę lub ciotkę, aby zmierzyć odległość, jaką pod wewnętrznym naciskiem typu, przeważnie okropnego, rysy te przebędą w niespełna trzydzieści lat, aż do pory zblaknięcia spojrzeń, aż do godziny, gdy twarz, całkowicie zaszedłszy za horyzont, nie otrzymuje już światła. Wiedziałem, że pod różowym kwiatostanem Albertyny, Rozamondy, Anny, nieznanym im samym, trzymany jakby w zapasie na okazję, równie głęboki, równie nieuchronny jak patriotyzm żydowski lub atawizm chrześcijański u ludzi najbardziej zdawałoby się wyzwolonych ze swojej rasy, mieszka gruby nos, mieszkają wystające



usta, tusza prawie niepojęta, ale istniejąca w rzeczywistości za kulisami, gotowa wejść na scenę, całkiem tak samo jak jakiś dreyfusizm, jakiś klerykalizm, nagły, nieprzewidywany, konieczny, jak jakiś nacjonalistyczny i feudalny heroizm, wyrosłe na apel okoliczności z natury dawniejszej od samego indywiduum, przez którą ono myśli, żyje, rozwija się, krzepi się lub umiera, niezdolne jej odróżnić od poszczególnych pobudek, które bierze za nią. Nawet umysłowo o wiele bardziej, niż nam się zdaje, zależy od naturalnych praw; umysł nasz posiada, niby jakiś gatunek skrytopłciowy, niby jakieś trawy, pewne wrodzone właściwości, gdy nam się zdaje, że je wybieramy. Ale my ogarniamy jedynie wtórne idee, nie spostrzegając pierwotnej przyczyny (rasy żydowskiej, rodziny francuskiej etc.), która je nieodzownie zrodziła, a które my objawiamy w danym momencie. I może, jak *motylkowate* otrzymują kształt swego nasienia, tak my otrzymujemy od naszej rodziny zarówno idee, jakimi żyjemy, chorobę, od której umrzemy, mimo iż idee zdają się nam wynikiem rozważań, a choroba skutkiem braku higieny.

Jak na łące, gdzie kwiaty dojrzewają w rozmaitych porach, widziałem w starszych damach, na tej plaży w Balbec, owe twarde ziarna, owe miękkie bulwy, jakimi moje przyjaciółki staną się pewnego dnia. Ale cóż to znaczyło? W tej chwili była pora kwiatów. Toteż kiedy pani de Villeparisis zapraszała mnie na przejażdżkę, szukałem wymówki, wykręcałem się. Odwiedzałem Elstira jedynie o tyle, o ile towarzyszyły mi moje nowe przyjaciółki. Nie mogłem nawet znaleźć popołudnia, aby się wybrać do Doncières do Roberta, jak mu to przyrzekłem. Zebrania towarzyskie, poważne rozmowy, nawet przyjacielska gawęda, o ile by trzeba dla nich poświęcić widzenie się z tymi dziewczętami, byłyby dla mnie tym samym, co gdyby w porze śniadania kazano komu nie jeść, ale oglądać album. Mężczyźni, młodzi ludzie, stare lub dojrzałe kobiety, których towarzystwo niby to lubimy, istnieją dla nas jedynie na płaskiej i niestałej powierzchni, bo wszystko to przyjmujemy do świadomości percepcją jedynie i wyłącznie wzrokową; ale do młodych dziewcząt zwraca się ona niby delegatka innych zmysłów; zmysły nasze szukają bezładnie rozmaitych pachnących, dotykanych, smakowitych przymiotów, których kosztują nawet bez pomocy rąk i ust; zdolne, dzięki sztukom transpozycji, dzięki geniuszowi syntezy, w której celuje pragnienie, odtworzyć — poprzez kolor lic lub piersi — dotknięcie, smak, niedozwolone dotyki, zmysły nasze dają tym dziewczętom tę samą miodowo-słodką konsystencję, jak kiedy buszują w klombie róż lub w winnicy, gdzie zjadają grona oczami.

Kiedy deszcz padał, mimo iż niepogoda nie przerażała Albertyny, którą widziało się często w gumowym płaszczu pomykającą na rowerze w ulewę, spędzaliśmy czas w kasynie, dokąd nie iść wydawało mi się w owe dni niepodobieństwem. Czulem bezgraniczną wzdargę dla pańien d'Ambresac, które nigdy nie przestąpiły progu kasyna. I chętnie pomagałem swoim przyjaciółkom płatać psie figle nauczycielowi tańców. Spadały na nas zazwyczaj upomnienia gospodarza lub urzędników uzurpujących sobie dyktatorską władzę, bo moje przyjaciółki (nawet Anna, którą z tej przyczyny wziąłem pierwszego dnia za istotę tak dionizyjską, a która była, przeciwnie, wątłą intelektualistką i tego roku była bardzo cierpiącą, powodując się mimo to nie tyle swoim stanem zdrowia, ile duchem owego wieku, zwyciężającego wszystko i łączącego w wesołości chorych i zdrowych) nie mogły wejść do hallu, do sali zabaw, aby nie biegać, nie skakać przez wszystkie krzesła, nie ślizgać się przez całą długość sali, zachowując równowagę wdzięcznym ruchem ramion, śpiewając, łącząc w tej pierwszej młodości wszystkie sztuki, na sposób owych poetów z dawnych wieków, dla których rodzaje jeszcze nie uległy rozgraniczeniu i którzy w epicznym poemacie mieszają przepisy rolnicze z teologią.

Ta Anna, która mi się wydawała pierwszego dnia raczej chłodna, była nieskończenie delikatniejsza, serdeczniejsza, subtelniejsza niż Albertyna, którą otaczała pieśczośliwą i słodką czułością starszej siostry. Siadała w kasynie obok mnie i umiała — w przeciwieństwie do Albertyny — odmówić tury walca lub nawet, jeżeli byłem zmęczony, wyrzec się pójścia do kasyna, po to aby zająć do mnie do hotelu. W objawach swojej przyjaźni dla mnie, dla Albertyny, miała odcienie dowodzące uroczej inteligencji serca, płynącej po części może z jej chorobliwego stanu. Umiała zawsze wesołym uśmiechem usprawiedliwić dzieciństwo Albertyny, z naiwną gwałtownością dające wyraz nieodpartej pokusie, jaką dla niej przedstawiały rozrywki, ponad które nie umiała, jak Anna, wręcz przełożyć rozmowy ze mną... Kiedy się zbliżała godzina jakiegoś podwieczorku na golfie, jeżeli by-

Młodość, Poezja

liśmy wszyscy razem w tej chwili, Albertyna zbierała się, po czym, zbliżając się do Anny, mówiła:

— Anno, na cóż ty czekasz, wiesz, że mamy być na golfie.

— Nie, ja zostanę z nim — odpowiadała Anna, wskazując na mnie.

— Ale wiesz, że pani Durieux zaprosiła cię — wołała Albertyna, jak gdyby zamiar Anny zostania ze mną dał się wytłumaczyć jedynie nieświadomością faktu, że jest zaproszona.

— Słuchaj, dziecko, nie bądź idiotką — odpowiadała Anna.

Albertyna nie należała z obawy, aby jej nie wypadło zostać także. Potrząsała głową:

— Rób, jak chcesz — odpowiadała, tak jak się mówi choremu, który dla przyjemności zabija się dobrowolnie powolną śmiercią — ja więcej, bo zdaje mi się, że twój zegarek się spóźnia — i brała nogi za pas.

— Ona jest urocza, ale niesłuchana — mówiła Anna, obejmując przyjaciółkę uśmiechem, który ją pieścił i sądził równocześnie. Jeżeli w tej namiętności rozrywek Albertyna miała coś z Gilberty z pierwszego okresu, to dlatego że przy równoczesnej ewolucji istnieje pewne podobieństwo między kobietami, jakie kolejno kochamy. Podobieństwo to wynika z trwałości naszej natury, ona to bowiem wybiera owe kobiety, wyłączając wszystkie te, które by nie były dla nas równocześnie kontrastowe i dopełniające, czyli zdolne zadowolić nasze zmysły i udręczyć nasze serce. Te kobiety są produktem naszego temperamentu, obrazem, odwróconą projekcją, „negatywem” naszej wrażliwości. Tak iż powieściopisarz mógłby w ciągu życia swego bohatera odmalować jego kolejne miłości, niemal identyczne, i przez to dać wrażenie nie naśladowania samego siebie, lecz tworzenia, mniej bowiem jest siły w sztucznej różnitości niż w powtórzeniu mającym wywołać nową prawdę. A także w charakterze kochanka powinien by podkreślić wskaźnik odmiany zaznaczającej się, w miarę jak wchodzimy w nowe regiony, w inne strefy życia. I może wyraziłby jedną prawdę więcej, gdyby, malując charaktery innych osób, poniechał w ogóle dania charakteru kochanej kobiecie. Znamy charakter ludzi obojętnych, ale jak moglibyśmy ująć charakter istoty, która się stapia z naszym życiem, której niebawem nie zdołamy odłączyć od siebie samych, co do której pobudek nie przestajemy tworzyć trwożliwych i wciąż odmiennych hipotez? Tryskając spoza sfery inteligencji, nasza ciekawość kobiety, którą kochamy, wybiega poza charakter tej kobiety; choćbyśmy się mogli przy nim zatrzymać, nie chcielibyśmy z pewnością. Przedmiot naszego niespokojnego poszukiwania bardziej jest zasadniczy niż te właściwości charakteru, podobne do owych małych rombów naskórka, których przeróżne kombinacje tworzą kwitnącą oryginalność ciała. Nasze intuicyjne promieniowanie przechodzi przez nie, a obrazy, jakie nam ono przynosi, nie są obrazami poszczególnej twarzy, ale mają posępną i bolesną uniwersalność szkieletu.

Ponieważ Anna była bardzo bogata, Albertyna zaś uboga i sierota, Anna bardzo wspaniałomyślnie pozwalała jej korzystać ze swego zbytku. Co się tyczy uczuć Anny dla Gizeli, nie były one zupełnie takie, jak przypuszczałem. Nadeszły bowiem rychło nowiny od tej uczennicy; kiedy Albertyna pokazała list od Gizeli, mający całej gromadce udzielić nowin o jej podróży i przybyciu, tłumaczący lenistwem to, że jeszcze nie napisała do innych, zdziwiłem się, iż Anna, śmiertelnie — jak sądziłem — pokłócona z Gizelą, rzekła:

— Napiszę do niej jutro, bo gdybym czekała jej listu, mogłabym czekać długo, ona jest taka niedbała. — I obracając się do mnie, dodała: — Panu się ona zapewne nie wydałaby niezwykła, ale to taka dzielna dziewczyna, doprawdy mam dla niej wiele przywiązania.

Wynioskowałem stąd, że urazy Anny nie trwają długo.

Z wyjątkiem tych deszczowych dni, kiedyśmy się wybierali na rowerach na wybrzeże lub na wieś, na godzinę przedtem starałem się upięknąć i biadałem, jeżeli Franciszka nie przygotowała moich rzeczy. Otóż nawet w Paryżu, kiedy się złapało Franciszkę na jakimś błędzie, prostowała z dumą i z wściekłością postawę, którą wiek zaczynał już przygarbiać; ona, tak pokorna, skromna i urocza, kiedy jej miłość własna była zadowolona! Ponieważ ta miłość własna była główną sprężyną jej życia, zadowolenie i humor Franciszki były w prostym stosunku do trudności rzeczy, jakich się od niej żądało. To, co miała do roboty w Balbec, było tak łatwe, że okazywała prawie ciągle niezadowolone, zestokrotnione nagłe i podkreślone ironicznym wyrazem dumy, kiedy w chwili, gdym spieszył do młodych przyjaciółek, załilem się, iż kapelusze jest nieoczyszczony lub krawaty w nieładzie. Ona,

zdolna zadać sobie tyle trudu bez poczucia własnej pracy, na prostą uwagę, że marynarka była nie na swoim miejscu, nie tylko chwaliła troskliwość, z jaką „wolała ją schować, niż żeby dała się jej kurzyć”, ale wygłaszając formalną apologię swoich prac, ubolewała, że właściwie Balbec to nie są żadne wakacje, że nie znalazłoby się drugiej, która by się zgodziła na takie życie. „Nie do pojęcia, jak można tak rozwłóczyć swoje rzeczy; nich pan spróbuje, czy by inna co znalazła w takim bigosie. Sam diabeł by się tu nie odnalazł”. Albo przybierała twarz królowej, rzucając mi płomienne spojrzenia i zachowując milczenie, przerywane natychmiast, skoro tylko zamknęła drzwi za sobą; wówczas korytarz rozbrzmiewał wykrzyknikami, które musiały być obelżywe, ale były równie niewyraźne jak słowa aktorów wygłaszających pierwsze wyrazy za drzwiami, nim wejdą na scenę.

Zresztą, kiedym się gotował wyjść z moimi przyjaciółkami, nawet jeżeli nic nie brakowało, a Franciszka była w dobrym humorze, i tak bywała nieznośna. Wspomagając się bowiem conceptami, które, w swojej potrzebie mówienia o tych dziewczętach, robiłem wobec Franciszki, niby to odsłaniała mi rzeczy, które ja byłbym wiedział lepiej od niej, gdyby były ściśle, ale które nie były ściśle, bo po prostu źle coś zrozumiała. Miała, jak wszyscy, swój charakter; człowiek nie jest podobny do prostej drogi, ale zadziwia nas osobliwymi i nieuniknionymi zakrętami, których inni nie spostrzegają i które ciężko nam jest przebywać. Za każdym razem, kiedym dochodził do punktu: „kapelusz nie na swoim miejscu”, do imion Anny i Albertyny, Franciszka zmuszała mnie, abym się zapuszczał w kręte i absurdalne ścieżki, które mnie bardzo opóźniały. Tak samo było, kiedym kazał przygotować sandwicze z serem i z sałatą i kupić ciastek, które miałem jeść na skałach w godzinie podwieczorku z dziewczętami. „Mogłyby i one przynieść czasem jakąś przekąskę, gdyby nie były takie żyły” — oświadczała Franciszka, której przychodził wówczas z pomocą cały atawizm prowincjonalnej chciwości i pospolitości. Można by rzec, że rozszczepiona dusza nieboszczki Eulalii wcieliła się dla Franciszki w uroczę ciała moich przyjaciółek z większym wdziękiem niż w świętego Eligiusza. Słuchałem tych oskarżeń z uczuciem wściekłości, że trafiam na jeden z owych punktów, od których począwszy wiejska i powszednia droga charakteru Franciszki stawała się nie do przebycia — nie na długo na szczęście. Następnie, skoro się marynarka znalazła, a sandwicze były gotowe, spieszyłem do Albertyny, Anny, Rozamondy — jeszcze innych czasem — i pieszo lub na rowerach puszczaliśmy się w drogę.

Niegdyś byłbym wolał, aby taki spacer wypadł w niepogodę. Wówczas sililem się odnaleźć w Balbec, „kraj Cymeryjczyków”; pogodne dni były rzeczą, która nie powinna tam istnieć, inwazją pospolitego lata letników w tę starożytną dziedzinę przesłoniętą mgłami. Ale teraz wszystko, czym wprzód wzgardziłem, com usuwał ze swego pola widzenia, nie tylko efekty słońca, ale nawet regaty, wyścigi konne, wszystko to stało mi się upragnione z tej samej przyczyny, dla której byłbym pragnął dawniej jedynie burzliwego morza; mianowicie dlatego, że te rzeczy kojarzyły się, jak niegdyś tamte, z ideą estetyczną. Bo z mymi przyjaciółkami odwiedzaliśmy czasami Elstira; otóż w dniu, kiedy były u niego te dziewczęta, najchętniej pokazywał nam rysunki ładnych *yachtswomen* lub jakiś szkic hipodromu w sąsiedztwie Balbec.

Wyznałem nieśmiało Elstirowi, że unikał reunionów, jakie tam dawano.

— Źle pan robił — rzekł — to takie ładne i takie ciekawe. Po pierwsze, ta szczególna istota, dżokej, na którym skupia się tyle spojrzeń i który przed startem, posępny, szary w swojej lśniącej kurtce, tworzy jedno z harcującym koniem, tak nad nim panując! Jakie by to było interesujące podchwycić jego zawodowe ruchy, pokazać błyszczącą plamę, jaką tworzy i jaka tworzy też czaprak koński na polu wyścigowym. Co za przeobrażenie wszystkich rzeczy w tym promiennym ogromie pola wyścigowego, gdzie nas zaskakuje tyle cieni, blasków, istniejących tylko tam! A kobiety — jakież mogą tam być ładne! Pierwszy reunion zwłaszcza był uroczy, były tam kobiety niesłychanie eleganckie, w jakimś wilgotnym, holenderskim świetle, gdzie się czuło w samym słońcu przenikliwy chłód wody. Nigdy nie widziałem kobiet przyjeżdżających powozem lub z lornetką przy oczach w podobnym świetle, wynikłym z morskiej wilgoci. Och! Jakże bym pragnął oddać tę wilgoć: wróciłem z tych wyścigów jak oszalały, z taką żądzą malowania!

Potem Elstir zachwycał się partiami jachtingu, jeszcze bardziej niż wyścigami. Zrozumiałem, że regaty, że meetingi sportowe, gdzie dobrze ubrane kobiety kąpią się w sele-

dynowym świetle morskiego hipodromu, mogą być dla nowoczesnego artysty motywem równie interesującym jak festyny, które tak lubili opowiadać jakiś Veronese lub Carpaccio.

— Pańskie porównanie jest tym ściślejsze — rzekł Elstir — że w mieście gdzie oni malowali, fety te były w znacznej części wodne. Tylko że piękność ówczesnych statków spoczywała najczęściej w ich ciężkości, w ich komplikacji. Były turnieje na wodzie, jak tutaj, wydawane przeważnie na cześć jakiejś ambasady, jak ten, który Carpaccio przedstawił w *Legendzie o świętej Urszuli*. Okręty były masywne, zbudowane jak gmachy, podobne do jakichś ziemnowodnych płazów, niby mniejsze Wenecje pośród tamtej prawdziwej, kiedy, przycumowane za pomocą ruchomych mostków, pokryte szkarłatnym ałasem i perskimi dywanami, dźwigały kobiety obleczone w wiśniowy brokat lub zielony adamaszek, w pobliżu balkonów inkrustowanych barwnym marmurem, skąd inne kobiety wychylały się, przyglądały, w sukniach o czarnych rękawiczkach z białymi rozporami, oszytymi perłami lub strojnymi koronką. Nie wiedziało się już, gdzie się kończy ziemia, gdzie się zaczyna woda, co jest jeszcze pałacem, a już okrętem, karawelą, galeasą, Bucentaurem.

Albertyna z namiętną uwagą słuchała szczegółów toaletowych, obrazów zbytku, jakie nam malował Elstir.

— Och, chciałabym widzieć te koronki, o których pan mówi, to takie ładne, *point de Venise* — wykrzyknęła — zresztą tak bym chciała pojechać do Wenecji.

— Będzie pani mogła niedługo — rzekł Elstir — oglądać cudowne materie, jakie tam noszono. Widywało się je już tylko na obrazach weneckich malarzy lub bardzo rzadko w skarbcach kościelnych; czasem nawet zjawiało się coś takiego na publicznej sprzedaży. Ale powiadają, że artysta wenecki, Fortuny, odnalazł sekret ich wyrobu i że nie upłynęło kilka lat, a kobiety będą się przechadzały, a zwłaszcza siedziały w domu, w brokatakach równie wspaniałych jak te, które zdobyła Wenecja wschodnimi deseniami dla swoich patrycjuszek. Ale nie wiem, czy by mi się to podobało, czy to nie będzie kostium zbyt anachroniczny dla dzisiejszych kobiet, nawet paradujących na regatach; bo, aby wrócić do naszych nowoczesnych statków luksusowych, to jest coś zupełnie przeciwnego niż za czasów Wenecji, *królowej Adriatyku*. Największy urok jachtu, urządzenia jachtu, toalet jachtingu, to ich prostota, właściwa rzeczom morskim, a ja tak lubię morze. Wyznaję, że wolę dzisiejsze mody od mód z czasu Veronese'a, a nawet Carpaccia. Ładne w naszych jachtach jest — średnich jachtach zwłaszcza, bo nie lubię tych ogromnych, zbyt okrętowatych; to tak jak z kapeluszami, trzeba zachować pewną miarę — owo coś gładkiego, prostego, jasnego, szarego, co w zamglone sinawe dnie ma coś z miękkości piany. Trzeba, żeby pokój, w którym się siedzi, miał coś z kawiarenki. Toż samo toalety kobiet na jachcie: owe tak pełne wdzięku suknie, lekkie, białe i gładkie, z płótna, z batystu, z pekinu, z drelichu, które w słońcu i w błękicie morza tworzą białość równie olśniewającą jak biały żagiel. Bardzo jest zresztą mało kobiet umiejących się ubrać, ale niektóre są bajeczne. Na wyścigach panna Lea miała biały kapelusik i białą umbrelkę: coś czarującego! Nie wiem, co bym dał, żeby mieć tę białą umbrelkę.

Szalenie byłbym ciekaw, czym ta umbrelka różniła się od innych; z przyczyn mieszczących się w sferze kokieterii kobiecej Albertyna była ciekawa tego jeszcze bardziej. Ale jak Franciszka mówiła o sufflecie: „Trzeba mieć dotyk”, tak tu różnica była w kroju.

— To było — powiedział Elstir — całkiem małe, okrągłe, jak chiński parasol.

Przytoczyłem umbrelki niektórych kobiet, ale to nie było to. Elstir uznał wszystkie te umbrelki za „ohydne”. Ten człowiek o wybrednym i wykwinnym smaku mieścił w odcieniu — który był wszystkim — różnicę między tym, co nosiła większość kobiet i co go przejmowało wstrętem, a ładną rzeczą, która go czarowała i która (gdy ja, przeciwnie, odczuwałem wszelki zbytek jako coś wyjąławiającego) podniecała jego żądzę malowania, „aby się starać zrobić coś równie ładnego”.

— Patrz pan, ta mała już zrozumiała, jaki był ten kapelusz i ta umbrelka — rzekł Elstir, wskazując Albertynę, której oczy błyszczały pożądliwością.

— Jakże ja chciałabym być bogata, aby mieć jacht — rzekła do malarza. — Poprosiłabym pana o radę, jak go urządzić. Co za piękne podróże bym robiła! I jakie by to było ładne pojechać na regaty do Cowes. A auto! Czy pan uważa, że to ładne, mody kobiecie do auta?

— Nie — odparł Elstir — ale to przyjdzie z czasem. Po pierwsze, mało jest krawców damskich; jeden albo dwóch; Callot, mimo że zanadto kocha się w koronkach, Doucet, Cheruit, czasami Paquin. Reszta to ohyda.

— Ależ w takim razie jest ogromna różnica między toaletą od Callot a od przeciętnego krawca? — spytał Albertyna.

— Ależ olbrzymia, głuptasku — odparła. — Och, przepraszam. Tylko, niestety, to, co gdzie indziej kosztuje trzysta franków, u nich kosztuje dwa tysiące. Ale to nie jest podobne do siebie; wydaje się jednakie tylko ludziom niemającym pojęcia.

— Najzupełniej — odparł Elstir — nie posuwając się wszelako do twierdzenia, że różnica jest równie głęboka jak między posągami z katedry w Reims a z kościoła św. Augustyna. A, *à propos* katedr — rzekł, zwracając się specjalnie do mnie, ponieważ się to odnosiło do rozmowy, w której dziewczęta nie brały udziału i która by ich zresztą nie interesowała — mówiłem panu kiedyś o kościele w Balbec niby o wielkiej skale nadbrzeżnej, o pospolitym ruszeniu okolicznych kamieni; ale na odwrót — rzekł, pokazując mi akwarele — popatrz pan na to wybrzeże (to szkic robiony całkiem blisko stąd, w Creuniers), popatrz pan, jak te potężnie i delikatnie wycięte skały przywodzą na myśl katedrę.

W istocie można by rzec: olbrzymie różowe arkady. Ale malowane w skwarny dzień, wydawały się starte na pył, ulotnione gorącem, które na wpeł wypilo wodę, na całej rozciągłości płótna doprowadzoną niemal do stanu pary. W tym dniu, kiedy światło jak gdyby zniszczyło rzeczywistość, skupiła się ona w mrocznych i przezroczystych istotach, które przez kontrast dawały wrażenie życia bardziej przejmujące, bliższe: w cieniach. Większość ich, spragniona chłodu, opuszczając rozpaloną płaszczyznę, zbiegła się u stóp skał chroniących je od słońca; inne, pływając z wolna po wodzie niby delfiny, czepiały się spacerujących łodzi, których kadłub poszerzały na bladej wodzie swoim lśniącym i błękitnym ciałem. Może to przejęta od nich żądza chłodu najbardziej dawała wrażenie upału tego dnia, co mi kazało wykrzyknąć, jak bardzo żałuję, że nie znam Creuniers. Albertyna i Anna upewniły mnie, że musiałem tam być sto razy. W takim razie byłem tam bez swojej wiedzy, nie podejrzewając, że któregoś dnia widok owych Creuniers mógłby we mnie wzbudzić taką żądzę piękności, niekoniernie naturalnej, jak ta, której szukałem dotąd na wybrzeżach Balbec, ale raczej architektonicznej. Wyjechawszy po to, aby oglądać królestwo burz, w spacerach naszych z panią de Villeparisis, gdzie często widzieliśmy morze tylko z daleka, wymalowane w przestrzeni między drzewami, nie znajdowałem nigdy oceanu dość realnym, dość płynnym, dość żyjącym, dającym wrażenie przewalającej się masy wód; jeżeli bym go rad widzieć nieruchomym, to jedynie pod zimowym całunem mgieł; i zaledwie byłbym uwierzył, że będę teraz marzył o morzu będącym już tylko białawą parą, bez konsystencji i barwy. Ale Elstir, jak ci, co marzyli w tych barkach odrętwionych upałem, zakosztował czaru tego morza aż do takiej głębi, że umiał oddać, utrwalić na płótnie niedostrzegalny odpływ wód, pulsowanie szczęsnej minuty; i nagle, widząc ten czarodziejski portret, widz czuł się tak rozkochany, że myślał już tylko o tym, aby biec przez świat po to, by odnaleźć zbiegły dzień w jego ulotnym i sennym wdzięku.

Przed tymi wizytami u Elstira, nim ujrzałem jego pejzaże morskie — gdzie młoda kobieta w bareżowej lub batystowej sukni, na jachcie z amerykańską flagą, pomieściła duchową kopię białej batystowej sukni i flagi w mojej wyobraźni, która natychmiast wylęgła nienasyconą żądzę widzenia białych batystowych sukien i flag w sąsiedztwie morza, tak jakby mi się to dotąd nigdy nie zdarzyło — siłem się zawsze w obliczu morza wygnąć z mojego pola widzenia zarówno kąpiących się na pierwszym planie, jak jachty o żaglach zbyt białych niby kostium plażowy. Oddalałem od siebie wszystko, co mi przeszkadzało wmówić w siebie, iż patrzę na odwieczną falę, roztaczającą własne tajemnicze życie już przed zjawieniem się rodzaju ludzkiego; nawet promienne dni, które przybierając dla mnie banalny wygląd uniwersalnego lata na tym wybrzeżu mgieł i burz, znaczyły na nim po prostu pauzę, równoważnik tego, co się nazywa w muzyce pustym taktem. Otóż teraz znowuż niepogoda zdawała mi się jakimś złowrogim wypadkiem, niezdolnym już sobie znaleźć miejsca w świecie piękności. Żywo pragnąłem odnaleźć w rzeczywistości to, co mnie tak zachwycało i spodziewałem się, że czas będzie dość pomyślny, aby ujrzeć z wysokości skał te same błękitne cienie, co na obrazie Elstira.

Po drodze nie przysłałem już sobie zresztą oczu rękami, jak w owych dniach, kiedy szukałem w naturze życia wcześniejszego od zjawienia się człowieka; kiedy na złość wszystkim uprzykrzonym zdobyciom przemysłu, które kazały mi dotąd ziewać z nudów na Wystawach Powszechnych lub u modystek, próbowałem widzieć tylko ten wycinek morza, gdzie nie było parowego statku, tak aby sobie uprzytomnić owo morze odwieczne, jeszcze współczesne epoce, gdy odłączyło się od ziemi, co najmniej współczesne pierwszym wiekom Grecji, co mi pozwalało powtarzać sobie z całym przejęciem wiersze „ojca Leconte” drogie Blochowi:

Pomknęły króle na skrzydlatych nawach,  
Wiodąc przez morze, burzliwe, niestety,  
Kosmate woje rycerskiej Hellady...

Nie mogłem już gardzić modystkami, skoro Elstir powiedział mi, że delikatny gest, jakim one dają ostatnie dotknięcie, subtelną pieśczętą kokardom lub piórom ukończonego kapelusza, byłby dlań równie interesujący do oddania, co gest dżokejów (co wprawilo w zachwyt Albertynie). Ale trzeba było — co się tyczy modystek — czekać powrotu do Paryża, a co się tyczy wyścigów i regat — do Balbec, gdzie już ich nie miało być przed następnym sezonem. Nawet jachtu unoszącego kobiety w białym batyście niepodobna było znaleźć.

Często spotykaliśmy siostry Blocha, którym musiałem się kłaniać od czasu, jak byłem na obiedzie u ich ojca. Moje przyjaciółki nie znały ich. „Nie pozwalają mi się bawić z Israelitkami” — mówiła Albertyna. Sposób, w jaki wymawiała *Israelitka* zamiast „Izraelitka”, wystarczałby za dowód, nawet gdyby się nie słyszało początku zdania, że tych młodych mieszczanek nie ożywiały uczucia sympatii wobec ludu wybranego: pochodząc z nabożnych rodzin, łatwo mogły wierzyć, że żydzi mordują dzieci chrześcijańskie. „Zresztą pańskie przyjaciółki mają fatalny ton” — mówiła Anna z uśmiechem, który znaczył, iż wie dobrze, że to nie są moje przyjaciółki. „Jak wszystko, co trąci plemieniem Izraela” — odpowiadała Albertyna sentencjonalnym tonem doświadczonej osoby. Prawdę mówiąc, siostry Blocha, zarazem zbyt strojne i na wpół nagie, z miną omdlewającą, czelną, zamożną i szmatławą, nie robiły najlepszego wrażenia. A jedna z ich kuzynek, mająca dopiero piętnaście lat, gorszyła kasyno podziwem, jaki manifestowała dla panny Lei, której aktorski talent starszy pan Bloch bardzo cenił, ale której gusty, jak mówiono, nie zawsze kierowały się w stronę mężczyzn.

Bywały dni, że jedliśmy podwieczorek w którejś z ferm w sąsiedztwie. Fermy te nosiły nazwy „Écorres”, „Marie-Thérèse”, „Croix d’Herland”, „Bagatela”, „Kalifornia”, „Marie-Antoinette”. Tę zwłaszcza upodobała sobie „banda”.

Ale czasami zamiast się udać do fermy wspinaliśmy się na sam szczyt skał i rozsiadaliśmy się na trawie, rozpakowywaliśmy sandwicze i ciastka. Dziewczęta wołały sandwicze i dziwiły się, że ja jem tylko czekoladowe ciastko, gotycko ilustrowane cukrem, lub placuszek z morelami. Bo z sandwiczami z chesterem i z sałatą, potrawą ciemną i nową, nie miałem o czym mówić. Natomiast ciastka były świadome, placuszki rozmowne. W ciastkach była mdłość kremu, a w placuszkach świeżość owocu, które tyle wiedziały o Combray, o Gilbertcie, nie tylko o Gilbertcie z Combray, ale i o tej z Paryża, gdzie odnalazłem je na podwieczorkach u niej. Przypominały mi owe talerzyki deserowe z *Tysiącem i jedną nocą*, tak bawiące swoimi historiami ciotkę Leonie, kiedy Franciszka przynosiła jej jednego dnia *Aladyna*, czyli *Cudowną Lampę*, drugiego *Ali-Babę* albo *Sindbada żeglarza*, jadącego z *Bassory ze wszystkimi swymi skarbami*. Byłbym bardzo rad ujrzeć te talerzyki, ale babka nie wiedziała, co się z nimi stało; uważała zresztą, że to są pospolite talerze, kupione na miejscu. To nic, że talerze i ich winietki lśniły wielobarwnie w owym szarym — jak cała Szampania — Combray, jak w czarnym kościele witraże o mieniących się drogich kamieniach, jak w mroku mojego pokoju projekcje latarni magicznej, jak przed dworcem departamentalnej kolei żelaznej indyjskie jaskry i perskie bzy, jak chińska kolekcja ciotki w jej posępnym mieszkanku prowincjonalnej starej damy.

Wyciągnięty nad urwiskiem widziałem przed sobą jedynie łąki, a ponad nimi nie siedem nieb chrześcijańskiej fizyki, ale spiętrzenie tylko dwóch: jednego ciemniejszego — morza — a wyżej drugiego, bledszego. Jedliśmy podwieczorek, a jeżeli przyniosłem

Antysemityzm

i jakąś małą pamiątkę, zdolną spodobać się którejś z dziewcząt, radość napelniała tak nagle i tak gwałtownie ich przezroczyste twarze, w jednej chwili poczerwieniała, że ich usta nie miały siły powstrzymać tej radości i aby jej dać upust, wybuchały śmiechem. Siedziały w krąg dokoła mnie; i między twarzami niezbyt oddalonymi od siebie powietrze, które je dzieliło, kreśliło lazuruowe ścieżki, jakby wytyczone przez ogrodnika, pragnącego zrobić trochę luzu, aby móc swobodnie krążyć w klombie róż.

Wyczerpawszy zapasy, graliśmy w gry, które wprzód wydawałyby mi się nudne, czasem równie dziecinne jak „łapki” lub „kto się pierwszy rozśmieje”, ale których teraz nie wyrzekłbym się bodaj za królestwo. Jutrzenka młodości, różowiąca jeszcze twarze tych dziewcząt, którą ja, w swoich latach, miałem już poza sobą, rozpromieniała w nich wszystko i niby płynny pędzel niektórych prymitywów rzeźbiła najblahsze wydarzenia ich życia na złotym tle. Przeważnie nawet twarze tych dziewcząt spływały się w owej mglistej różowości jutrzienki, skąd prawdziwe rysy jeszcze się nie wyłoniły. Widziało się jedynie uroczą barwę, pod którą to, czym miał się stać za kilka lat profil, było jeszcze nie do rozpoznania. Dzisiejszy ich profil nie miał nic ostatecznego i mógł być jedynie chwilowym podobieństwem z jakimś zmarłym członkiem rodziny, którego natura uczciła tym grzecznościowym wspomnieniem. Tak szybko przychodzi chwila, gdy już nie mamy czego oczekiwać, gdy ciało stężeje w martwocie niewrózającej już niespodzianek, gdy się traci wszelką nadzieję, widząc — niby na drzewach w pełni lata martwe już liście — dokoła młodych jeszcze twarze wypadające lub bielejące włosy; tak krótki jest ów promienny poranek, że dochodzi się do tego, iż kocha się tylko bardzo młode dziewczęta, te, u których ciało, niby szacowne ciasto, rośnie jeszcze. Są one jedynie falą materii, ciągną, wciąż ugniataną władającym nimi przemijającym wrażeniem. Można by rzec, że każda jest kolejno małą statuetką wesela, młodzieńczej powagi, przymilności, zdziwienia — modelowaną szczerym, pełnym, lecz ulotnym wyrazem. Ta plastyczność daje wiele różnorodności i wdzięku milusim względom, jakimi darzy nas młoda dziewczyna. Zapewne, są one nieodzowne i u kobiety, a ta, której się nie podobamy albo która nam nie okazuje, że się jej podobamy, przybiera w naszych oczach coś nudno jednostajnego. Ale same te przymilności, począwszy od pewnego wieku, nie dają już owych miękkich falistości twarzy, którą walki życia stwardniły, dając jej na zawsze coś wojującego lub ekstatycznego. Jedna twarz — siłą ciągłego posłuszeństwa, poddającego żonę władzy męża — wydaje się raczej twarzą żołnierza niż kobiety; inna, wyrzeźbiona każdodziennym poświęceniem matki dla dzieci, jest twarzą apostoła. Inna jeszcze, po latach walk i burz, zmienia twarz kobiety — o której płci świadczy jedynie strój — w twarz starego wilka morskiego. I niewątpliwie, względem, jakie ma dla nas kobieta, mogą jeszcze, kiedy ją kochamy, usiąć nowymi urokami pędzone przy niej godziny. Ale ona nie jest dla nas kolejno różnorodną kobietą. Wesołość jej pozostaje czymś na zewnątrz jej niezmiennej twarzy. Natomiast młodość wcześniejsza jest od całkowitego stężenia; stąd pochodzi, że w towarzystwie młodych dziewcząt odczuwamy ową świeżość, czerpaną w widoku kształtów wciąż zmiennych, igrających w nieustannych przeciwieństwach, każących myśleć o owym ustawicznym odradzaniu się przyrody, jakie oglądamy w obliczu morza.

I nie tylko jakieś przyjęcie lub spacer z panią de Villeparisis byłbym poświęcił dla „pytki” albo „szarad” z moimi przyjaciółkami. Kilka razy Saint-Loup kazał mi oznajmić, że skoro ja nie przyjeżdżam do Doncières, on poprosi o dwudziestoczwierogodzinny urlop, aby spędzić ten czas w Balbec. Za każdym razem wstrzymywałem go od tego, tłumacząc się, że właśnie tego dnia muszę dopełnić z babką jakichś rodzinnych obowiązków w sąsiedztwie. Bez wątplenia musiał źle o mnie sądzić, dowiadując się przez panią de Villeparisis, na czym polegają te obowiązki rodzinne i kto w tym wypadku pełni rolę mojej babki. A jednak nie robiłem może źle, poświęcając nie tylko uciechy światowe, lecz i rozkosze przyjaźni dla przyjemności spędzania całego dnia w tym ogrodzie. Istoty zdolne żyć dla siebie samych — prawda, że to są artyści, a ja byłem od dawna przekonany, że nie będę artystą nigdy — mają zarazem obowiązek to czynić; otóż przyjaźń jest dla nich zwolnieniem z tego obowiązku, wyrzeczeniem się samych siebie. Nawet rozmowa, będąca sposobem wyrażenia przyjaźni, jest powierzchowną dywagacją, nie przynoszącą nam nic. Możemy rozmawiać całe życie, powtarzając jedynie w nieskończoność pustkę jakiejś minuty, podczas gdy krok myśli w samotnej pracy artystycznego tworzenia idzie w głąb w tym jednym kierunku, który nam nie jest zamknięty, gdzie możemy posuwać

się — z większym trudem co prawda — ku zdobyciu prawdy. I przyjaźń jest nie tylko pozbawiona wartości jako rozmowa; jest, co więcej, zgubna. Bo ci z nas, których prawo rozwoju jest czysto wewnętrzne, nie mogą nie odczuwać wrażenia nieodzownej nudy w towarzystwie przyjaciela — wrażenia, że się zostaje na powierzchni samego siebie, zamiast wieść swoją odkrywczą podróż w głąb. Przyjaźń każe nam prostować owo wrażenie nudy, kiedy się znajdziemy sami; każe nam przypominać sobie ze wzruszeniem słowa przyjaciela, każe je nam uważać za cenny materiał, podczas gdy my nie jesteśmy jak budynki, którym można przydać kamieni z zewnątrz, ale jak drzewa, czerpiące z własnego soku następny węzeł swojej łodygi, wyższy szczebel swego rozwoju. Kłamałem samemu sobie, przerywałem wzrost w kierunku, w którym mogłem w istocie naprawdę urósć i być szczęśliwym, wówczas gdy sobie chwaliłem, że mnie kocha i podziwia istota tak dobra, tak inteligentna, tak pożądana jak Saint-Loup; kiedy dociągałem swoją inteligencję nie do własnych mętnych wrażeń, które przeniknąć było moim obowiązkiem, ale do słów przyjaciela. Powtarzając sobie te słowa — każąc je sobie powtarzać owemu drugiemu *ja*, które żyje w nas i na które zawsze jesteśmy tak radzi zwalić ciężar myślenia — siliłem się znaleźć w nich piękno, bardzo różne od tego, które ściagałem w milczeniu, kiedy byłem naprawdę sam, ale takie, które dałoby więcej wartości Robertowi, mnie samemu, memu życiu. W egzystencji, jaką mi stwarzał taki przyjaciel, czułem się pieczołowicie chroniony od samotności, szlachetnie żądny poświęcić dlań samego siebie — w sumie niezdolny do ziszczenia samego siebie. Przy dziewczętach natomiast, jeżeli przyjemność, jakiej kosztowałem, była samolubna, to przynajmniej nie wspierała się na kłamstwie, które stara się w nas wmówić, iż nie jesteśmy nieuleczalnie samotni, i które, kiedy z kimś rozmawiamy, nie pozwala nam wyznać sobie, że to już nie my mówimy, że się kształtujemy wówczas na podobieństwo istoty obcej, nie zaś naszego własnego *ja*, różnego od niej. Słowa, jakie wymienialiśmy z tymi dziewczętami, były mało interesujące, rzadkie zresztą, przerywane z mojej strony długim milczeniem. To mi nie przeszkadzało znajdować w słuchaniu ich, kiedy mówiły do mnie, tyleż przyjemności, co w patrzeniu na nie, co w odkrywaniu w głosie każdej z nich barwnego obrazu. Z rozkoszą słuchałem ich ćwierkania. Lubienie czegoś pomaga nam rozpoznawać, różniczkować. Miłośnik ptaków rozróżnia natychmiast w lesie owe właściwe każdemu ptakowi szczebioty, które zwykli ludzie mieszają. Miłośnik młodych dziewcząt wie, że głosy ludzkie są jeszcze rozmaitsze. Każdy głos posiada więcej nut niż najbogatszy instrument. I kombinacje, w jakich je grupuje, są równie niewyczerpane jak nieskończona różnorodność osobowości. Kiedym rozmawiał z którąś z moich przyjaciółek, spostrzegłem, że modulacje tak jej głosu, jak i twarzy genialnie rysowały mi oryginalny i jedyny w swojej indywidualności obraz, narzucając mi go despotycznie; że to są dwa widowiska, tłumaczące, każde na swojej płaszczyźnie, tę samą poszczególną rzeczywistość. Bez wątplenia linie głosu, jak linie twarzy, nie były jeszcze ustalone: głos miał jeszcze zmutować, tak jak twarz miała się zmienić. Jak dzieci posiadają gruczoł, którego sok pomaga im trawić mleko, a który nie istnieje już u dorosłych, tak w świecie tych dziewcząt były nuty, jakich kobiety już nie mają. I na tym bogatszym instrumencie grały wargami, z gorliwością, z zapalem muzykujących aniołków Belliniego, stanowiącymi wyłączny przywilej młodości. Później dziewczęta te tracą ów akcent entuzjastycznego przekonania, dający wdzięk najprostszym rzeczom, czy to gdy Albertyna z poczuciem swego autorytetu produkowała kalambury, których młodsze słuchały z podziwem, aż je ogarnął szalony śmiech, nieodparty i gwałtowny jak kichnięcie; czy kiedy Anna zaczynała mówić o pracach szkolnych, dziecinniejszych jeszcze niż ich zabawy, z powagą nie mniej dziecinną; i słowa ich detonowały, podobne owym strofom z dawnych czasów, kiedy poezję, jeszcze niewyzwoloną z muzyki, deklamowało się, niemal śpiewając. Mimo wszystko głos owych dziewcząt jasno już określał pojęcie każdej z tych osóbek o życiu, pojęcie tak indywidualne, że zbyt ogólnikowym byłoby powiedzieć o jednej: „wszystko bierze na żart”, o drugiej: „wszystko rozstrzyga apodyktycznie”, o trzeciej: „trwa w wyczekującym wahaniu”. Rysy naszej twarzy to niemal tylko gesty ustalone przyzwyczajeniem. Natura, jak katastrofa Pompei, jak metamorfoza nimfy, utrwaliła nas w nawykowym geście. Toż samo nasze intonacje zawierają naszą filozofię życia, to, co człowiek powiada sobie w każdej chwili o rzeczach.

Bez wątplenia, rysy te nie były wyłączną własnością dziewcząt. Należały do ich rodziców. Indywidualizm zanurzone jest w czymś ogólniejszym od niego. W tym sensie rodzice



przekazują nie tylko ów powtarzający się gest, jakim są rysy twarzy i głosu, ale także pewne sposoby mówienia, pewne uświęcone zwroty, które, prawie równie bezwiedne jak intonacja, prawie równie głębokie, zdradzają jak ona pewne spojrzenie na życie. Prawda, iż gdy chodzi o dziewczęta, są wyrażenia, jakich rodzice nie udzielają im przed pewnym wiekiem; zwykle nie wprzód, aż się staną kobietami. Chowa się je w zapasie. I tak kiedy była mowa o obrazach któregoś z przyjaciół Elstira, Anna nosząca jeszcze warkocze, nie mogła osobiście użyć wyrażenia, jakim posługiwały się jej matka i zamężna siostra: „Zdaje się, że jako *mężczyzna* jest czarujący”. Ale przyszłoby to później wraz z pozwoleniem na farsę w Palais-Royal. A już od pierwszej komunii Albertyna mówiła, jak przyjaciółka jej ciotki: „To by mi się zdawało dosyć okropne”. Dano jej też w prezencie zwyczaj żądania, aby ktoś powtórzył to, co mówił; w ten sposób okazywała zainteresowanie i starała się wytworzyć sobie własną opinię. Jeżeli się mówiło, że obrazy jakiegoś malarza są dobre lub jego domek ładny: „A, dobre są te obrazy? A, ładny jest ten domek?”. Jeszcze ogólniejsza wreszcie niż spadek rodzinny była soczysta materia narzucona przez prowincję, z której dziewczęta czerpały swój głos, a którą trąciły nawet ich intonacje. Kiedy Anna dawała słowu silniejszy akcent, mimo woli perygordzka struna jej krtani wydawała śpiewny ton, harmonizujący zresztą z południową czystością jej rysów; pustotom zaś Rozamondy, co bądź by czyniła, linie twarzy i głosu odpowiadały akcentem północnych stron. Słyszałem jak gdyby pełen wdzięku dialog między tą prowincją a naturą dziewczęcia, dyktującą jej tonację. Dialog, nie dysonans. Żaden dysonans nie zdołałby rozdzielić młodej dziewczyny z jej ziemią rodzinną. Sama jest jeszcze tą ziemią. Zresztą to oddziaływanie lokalnych czynników na ducha, który je spożytkowuje i któremu one przydają świeżości, nie uszczupla indywidualności dzieła — czy to będzie twór architekta, snycerza czy muzyka — nie zaciera najsubtelniejszych rysów osobowości artysty przez to, że ów musiał pracować w kamieniu z okolic Senlis lub w czerwonym kamieniu strasburskim, przez to, że uszanował słoje jesionu, że w swojej kompozycji liczył się z granicami, dźwiękami i możliwościami fletu lub altówki.

Zdawałem sobie z tego sprawę, a przecież rozmawialiśmy tak mało. Z panią de Villeparisis lub z Robertem okazywałem słowami o wiele więcej przyjemności niż jej odczuwałem w istocie, gdyż rozstawałem się z nimi zmęczony. Tu, przeciwnie, kiedy leżałem między tymi dziewczętami, pełnia moich doznań przewyższała nieskończenie ubóstwo i skąpość naszych słów, przelewając się z mojej nieruchomości i z mego milczenia falami szczęścia, których plusk zamierał u stóp tych młodych róż.

Dla rekonwalescenta, odpoczywającego cały dzień w ogrodzie kwiatowym lub w sadzie, tysiąc drobiazgów, z których składa się jego *far niente*, nasiąka zapachem kwiatów i owoców; tym samym był dla mnie ów kolor, ów aromat, których spojrzenia moje szukały u tych dziewcząt i których słodycz zespalała się w końcu ze mną. Tak winogrona nabierają słodyczy w słońcu. I przez swoją powolną ciągłość te tak proste zabawy powodowały też we mnie odprężenie, błogi uśmiech, mętne olśnienie, udzielające się nawet oczom, jak u tych, co nie czynią nic innego, tylko, wyciągnięci nad brzegiem morza, wdychają sól, opalają się.

Czasem przymilność którejś z dziewcząt budziła we mnie żywsze vibracje, oddalające na jakiś czas skłonność do innych. I tak jednego dnia Albertyna powiedziała:

— Kto ma ołówek?

Anna dostarczyła ołówka, Rozamonda papieru, Albertyna zaś oświadczyła:

— Moje kobietki, zabraniam wam zaglądać, co ja piszę. — Dołożywszy starań, aby porządnie wypisać każdą literę na ćwiartce wspartej na kolanach, podała mi ją, mówiąc: — Niech uważa, żeby nikt nie widział.

Rozwinąłem i wyczytałem te słowa: „Bardzo kogoś... lubię”.

— Ale zamiast pisać głupstwa — krzyknęła, obracając się z miną nagle popędliwą i poważną do Anny i Rozamondy — muszę pokazać list, który dostałam od Gizeli dziś rano. Oszałam, mam go w kieszeni; i pomyśleć, że to się nam może tak przydać!

Gizela czuła się w obowiązku przesłać przyjaciółce — a przez nią wszystkim innym — wypracowanie, które zrobiła na egzamin pisemny. Obawę Albertyny co do trudności zadań pisemnych przewyższyły jeszcze dwa tematy, między którymi Gizela musiała wybierać. Jeden był: „Sofokles pisze z Hadesu do Racine’a, aby go pocieszyć po niepowodzeniu *Atalii*”; drugi: „Przypuść, że po pierwszym przedstawieniu *Estery* pani de

Sévigné pisze do pani La Fayette, aby jej wyrazić, jak bardzo żałowała jej nieobecności”. Otóż Gizela przez nadmiar gorliwości, która musiała wzruszyć egzaminatorów, wybrała pierwszy, trudniejszy, i potraktowała go tak niepospolicie, że uzyskała czternaście punktów i powinszowanie jury. Byłaby dostała klasę „bardzo dobrze”, gdyby się nie obcięła z hiszpańskiego. Albertyna odczytała nam z miejsca wypracowanie, którego kopię przesłała jej Gizela, sama bowiem mając przed sobą ten egzamin, bardzo pragnęła usłyszeć zdanie Anny, o wiele tęższej od innych i mogącej jej dać cenne wskazówki.

— Ta ma szczęście — rzekła Albertyna. — Toż to właśnie temat, nad którym jej tu kazała ślęczyć nauczycielka francuskiego.

List Sofoklesa do Racine’a, zredagowany przez Gizelę, zaczynał się tak:

„Drogi przyjacielu, daruj mi, że piszę do ciebie, nie mając zaszczytu być ci osobiście znanym, ale twoja nowa tragedia o Atalii czyż nie wskazuje, żeś doskonale przestudiował moje skromne dzieła? Włożyłeś rymy nie tylko w usta protagonistów, czyli głównych osób dramatu, ale stworzyłeś wiersze, i to urocze — pozwól sobie powiedzieć bez pochlebstwa — dla chóarów, które podobno były ozdobą tragedii greckiej, ale które są we Francji prawdziwą nowością. Co więcej, twój talent, tak zwinny, wykwinny, tak uroczy, subtelny, delikatny, osiągnął siłę, której ci wieszczę. Atalia, Joad — oto osobistości, których twój rywal, Corneille, nie zdołałby lepiej postawić. Charaktery są męskie, intryga prosta i mocna. Nareszcie tragedia, której sprężyną nie jest miłość, co może budzić jedynie najszczerze uznanie. Najślynniejsze przepisy nie zawsze są najprawdziwsze. Zacytuję ci jako przykład: „Tej czulej namiętności malowidło świeże, do serc słuchaczy drogę najprostszą obierze”.

Okazałeś, iż uczucie religijne, które tryska z twoich chóarów, nie mniej jest zdolne wzruszyć. Szeroka publiczność mogła być zaskoczona, ale prawdziwi znawcy oddają ci sprawiedliwość. Czulem potrzebę przesłania ci swoich powinszowań, do których łączę, drogi kolego, wyraz najoddańszych uczuć”.

Oczy Albertyny błyszczały przez cały czas, gdy czytała.

— Można by przysiąc, że ona to skądś przepisała — wykrzyknęła, dobiegłszy końca. — Nigdy nie byłabym posądziła Gizeli, że potrafi wysmażyć taki kawałek. I te wiersze, które cytuje, skąd ona to mogła ściągnąć?

Podziw Albertyny, zmieniający co prawda przedmiot, ale jeszcze wzmożony, kazał jej, w połączeniu z wytężoną uwagą, „wybałuszać oczy” przez cały czas, kiedy Anna, której zdania czekano jako najstarszej i najbardziej obkutej, najpierw zaczęła mówić o zadaniu Gizeli z pewną ironią, po czym lekkim tonikiem, zbyt przejrzyście kryjącym intencję serio, odtworzyła na swój sposób ten sam list:

— To wcale niezłe — rzekła do Albertyny — ale gdybym była tobą i gdyby mi dano ten sam temat, co może się zdarzyć, bo go dają bardzo często, wzięłabym się do tego inaczej. Oto, jak bym go potraktowała. Najpierw, gdybym była Gizelą, nie pojechałabym na ośle, ale na początek naznaczyłabym sobie na oddzielnej kartce plan. W pierwszym rzędzie postawienie kwestii i ekspozycja przedmiotu; potem idee ogólne, jakie bym zamierzała rozwinąć. Wreszcie ocena, styl, konkluzja. W ten sposób, mając wytyczne punkty, wie się, dokąd się idzie. Od samej ekspozycji tematu lub — jeżeli wolisz, Titinko, skoro to jest list — od wprowadzenia w przedmiot, Gizela sfuserowała. Pisząc do człowieka z XVII wieku, Sofokles nie powinien był pisać: *drogi przyjacielu*.

— Powinna była w istocie dać mu napisać: *mój drogi Racine* — wykrzyknęła z zapalem Albertyna. — To byłoby o wiele lepiej.

— Nie — odparła Anna tonem lekko drwiącym — powinna była napisać: „Monsieur”. Toż samo kończąc, powinna była znaleźć coś w rodzaju: „Pozwól, panie (lub, co najwyżej, drogi panie), bym wyraził uczucia szacunku, z jakimi mam zaszczyt pozostawać twoim sługą”. Z drugiej strony, Gizela powiada, że chóry w *Atalii* są nowością. Zapomina o *Esterze* oraz o dwóch tragediach mało znanych, ale które właśnie tego roku rozbiierał profesor, tak iż jedynie cytując je (bo to jest jego konik), byłaby pewna, że przejdzie. Jedna to *Żydówki* Roberta Garnier, druga *Aman* Montchrestiena.

Przytaczając oba tytuły, Anna nie mogła pokryć uczucia życzliwej wyższości, która wyraziła się w jej uśmiechu, zresztą dość miłym. Albertyna nie mogła ochłonąć:

— Anda, ty jesteś oszalamiająca — wykrzyknęła. — Musisz mi zapisać te dwa tytuły. Pomyśl, co za szansa, gdyby to na mnie padło, choćby przy ustnym, zaraz bym je wywaliła i zrobiłabym byczy efekt.

Ale później, ilekroć Albertyna prosiła Anny o podyktowanie jej tytułów tych dwóch sztuk, uczona przyjaciółka twierdziła, że zapomniała, i nie przypomniła ich już sobie nigdy.

— Następnie — (ciągnęła Anna tonem niedostrzegalnej pogardy dla dziecinnych koleżanek, ale szczęśliwa, że może budzić podziw i przywiązując do sposobu, w jaki wywiązałyby się z zadania, więcej wagi, niż chciała okazać) — Sofokles w Hadesie powinien być dobrze poinformowany. Musi tedy wiedzieć, że nie wobec szerokiej publiczności, ale przed Królem-Słońce i garstką wybranych dworaków wystawiono *Atalię*. To, co Gizela mówi z tej racji o uznaniu znawców, jest wcale niezłe, ale można by to rozwinąć. Sofokles, stawszy się nieśmiertelnym, może bardzo łatwo mieć dar proroczy i oznajmić, że wedle Woltera *Atalia* będzie nie tylko „arcydziełem Racine’a, ale arcydziełem ducha ludzkiego”.

Albertyna piła te słowa. Źrenice jej płonęły. I z najgłębszym oburzeniem odparła propozycję Rozamondy, aby zagrać w szarady.

— Wreszcie — rzekła Anna tym samym niedbałym, obojętnym, nieco drwiącym i dość apodyktycznym tonem — gdyby Gizela porządnie wynotowała sobie na początku ogólne myśli, jakie zamierzała rozwinąć, wpadłaby może na to, co ja byłabym zrobiła: mianowicie wykazać, czym się różni natchnienie religijne chórów Sofoklesa a chórów Racine’a. Zrobiłabym ustami Sofoklesa uwagę, że o ile chóry Racine’a nacechowane są uczuciem religijnym jak chóry tragedii greckiej, nie chodzi przecież o tych samych bogów. Bóg Joada nie ma nic wspólnego z bogiem Sofoklesa. I to wiedzie nas całkiem naturalnie, z końcem rozbioru, do konkluzji: „I cóż stąd, że wierzenia są różne?”. Sofokles nie pozwoliłby sobie nastawać na ten punkt. Bałby się urazić przekonania Racine’a; toteż, natrącając z tej okazji parę słów o jego mistrzach z Port-Royal, woli wieszować swemu rywalowi górności poetyckiego lotu.

Podziw i uwaga rozgrzały Albertynę tak, że pocila się wielkimi kroplami. Anna zachowała uśmiechniętą flegmę żeńskiego dandysa.

— Niezłe byłoby również zacytować parę sądów sławnych krytyków — rzekła, zanim wrócono do gier.

— Tak — odrzekła Albertyna — mówiono mi to. Najbardziej godne uwagi, nieprawdaż, to sądy Sainte-Beuve’a i Merleta?

— Niezupełnie jesteś daleka od prawdy — odparła Anna, która zresztą, mimo błagań Albertyny, nie chciała jej wypisać dwóch innych nazwisk. — Merlet i Sainte-Beuve to niezłe robi, ale zwłaszcza trzeba zacytować Deltoura i Gascq-Desfossés.

Przez ten czas myślałem o kartce z notatnika, którą mi wsunęła Albertyna: „Bardzo kogoś... lubię”, i w godzinę później, schodząc drogami wiodącymi nas z powrotem, zbyt stromo na mój gust, do Balbec, powiadałem sobie, że to z nią przeżyję swój romans.

Stan określony zespołem znaków, z których poznajemy zazwyczaj, iż jesteśmy zakochani — na przykład rozkazy, jakie dawałem w hotelu, aby mnie nie budzono dla nikogo, z wyjątkiem którejś z tych dziewcząt, bicie serca w oczekiwaniu ich (bez względu na to której) i wściekłość moja w te dni, jeśli nie mogłem znaleźć fryzjera, żeby mnie ogolił i miałem się ukazać nie dość piękny oczom Albertyny, Rozamondy lub Anny, — bez wątpienia, ten stan, odradzający się na przemian dla tej lub innej, był równie odmienny od tego, co nazywamy miłością, jak od życia ludzkiego różni się życie zwierzokrzewów, w którym istnienie, indywidualność, jeżeli można tak powiedzieć, rozmieszczone są między rozmaite organizmy. Ale historia naturalna uczy, że taki organizm zwierzęcy da się obserwować i że własne nasze życie, o ile jest już trochę rozwinięte, również zawiera dowody realności dawniej przez nas niepodejrzewanych stanów, przez które mamy przejść, choćbyśmy je potem mieli porzucić. Takim był dla mnie ten stan miłosny, podzielony równocześnie między kilka dziewcząt. Podzielony lub raczej niepodzielony; najczęściej bowiem tym, co mi było rozkoszne, odmienne od reszty świata, tym, co zaczynało mi się stawać drogą tak, iż nadzieja odnalezienia tego nazajutrz była największą radością mego

Miłość

życia, była raczej cała gromadka dziewcząt, wzięta w całości tych popołudni na wybrzeżu, w czasie tych wietrznych godzin, na tym skrawku trawy, gdzie spoczywały owe tak podniecające moją wyobraźnię twarze Albertyny, Rozamondy, Anny. I niepodobna mi było określić, która z nich czyniła mi te miejsca czymś tak szacownym, którą najbardziej miałem ochotę kochać. Z początkiem miłości, jak z jej końcem, nie jesteśmy wyłącznie przywiązani do przedmiotu tej miłości. To raczej chęć kochania, z której wyniknie miłość (a później wspomnienie pozostawione przez miłość) — błądzi rozkosznie w strefie uroków zamiennych — często po prostu uroków natury, łakomstwa, mieszkania — na tyle harmonizujących z sobą, aby się ta chęć nie czuła przy żadnym z nich nie na miejscu. Zresztą, ponieważ w stosunku do tych dziewcząt nie byłem jeszcze zblazowany nawykiem, miałem zdolność widzenia ich, tym samym doznawania głębokiego zdumienia za każdym razem, kiedym się znalazł w ich towarzystwie. Bez wątpienia, zdumienie owo wynika po części stąd, że dana istota ukazuje nam wówczas nowe oblicze samej siebie; ale dowodzi też ono jej bogactwa, bogactwa linii twarzy i ciała, linii, z których tak mało się odnajduje w samowolnym uproszczeniu naszej pamięci, skoro już nie jesteśmy z tą osobą. Ponieważ pamięć wybrała sobie jakąś uderzającą nas właściwość, wyosobniła ją, przesadziła, czyniąc z kobiety, która nam się wydawała duża — szkic przesadzający jej wzrost lub z kobiety, która nam się wydawała różową blondynką — „harmonię różowo-złotą”, przeto z chwilą gdy na nowo znajdziemy się wobec tej kobiety, wszystkie inne zapomniane właściwości, stanowiące przeciwwagę tamtych, oblegają nas w swojej mętnej złożoności, zmniejszając wzrost, topiąc różowość i pod oczekiwane przez nas kształty podstawiając inne właściwości, które — pamiętamy to — zauważyliśmy, widząc ją pierwszy raz, przy czym nie pojmujemy, żeśmy się ich mogli nie spodziewać. Pamiętaliśmy pawia, zbliżamy się do niego i znajdujemy gila. I to nieuniknione zdziwienie nie jest jedyne; obok niego jest drugie, zrodzone z różnicy już nie między stylizacjami wspomnienia i rzeczywistości, ale między istotą widzianą ostatni raz a tą, która nam się dziś jawi pod innym kątem, w innej postaci. Twarz ludzka jest jak twarz Boga wschodniej teogonii; całe grono twarzy sąsiadujących na rozmaitych planach i niewidocznych równocześnie.

Pamięć, Wzrok

Ale w znacznej części zdziwienie nasze pochodzi zwłaszcza stąd, że jakaś istota ukazuje nam również tę samą fizjonomię. Trzeba by tak wielkiego wysiłku, aby odtworzyć wszystko, czego nam dostarczyło coś spoza nas — bodaj smak owocu — że zaledwie odebrawszy wrażenie, osuwamy się nieznacznie po pochyłości wspomnienia i nie zdając sobie z tego sprawy, w krótkim czasie jesteśmy bardzo daleko od tego, cośmy czuli. Tak iż każde nowe ujście jest rodzajem sprostowania, sprowadzającego nas do tego, cośmy widzieli. Nie pamiętaliśmy już, tak dalece to, co się zowie przypominaniem sobie jakiejś istoty, jest w rzeczywistości zapominaniem jej. Ale jak długo jeszcze umiemy widzieć w chwili, gdy się nam zjawia zapomniany rys, poznajemy go, musimy naprostować skrzywioną linię. W ten sposób ustawiczna i płodna niespodzianka, czyniąca mi owe codzienne spotkania z ładnymi dziewczętami na plaży czymś tak zbawczym i uelastyczniającym, składała się tyleż z przypomnień co z odkryć. Skoro dodać podniecenie obudzone tym, czym one były dla mnie (nigdy całkowicie tym, co byłbym przypuszczał: tym samym nadzieją następnego spotkania nie była już podobna do poprzedniej nadziei, ale do drgającego jeszcze wspomnienia ostatniej rozmowy), łatwo pojąć, iż każda przechadzka dawała gwałtowne pchnięcie moim myślom, i wcale nie w tym kierunku, jaki bym mógł wykreślić w samotności mego pokoju i na zimno. Ten kierunek był zapomniany, pogrzebany, kiedy wracałem drgający jak ul od słów, które mnie poruszyły i które długo rozbrzmiewały we mnie. Każda istota jest zniweczona, kiedy przestajemy ją widzieć; następne jej zjawienie się jest nowym tworzeniem, różnym od tego, które je bezpośrednio poprzedziło, o ile nie od wszystkich. Bo minimum różnaitości, mogącej istnieć w tych aktach tworzenia, to liczba dwóch. Jeżeli pamiętamy energiczny wzrok, zuchowatą minę, nieuchronnie za następnym widzeniem zadziwi nas, to znaczy prawie wyłącznie uderzy, profil niemal omdlewający, wyraz marzącej słodyczy, — rzeczy zaniedbane przez nas w poprzednim wspomnieniu. W konfrontacji naszego wspomnienia z nową rzeczywistością to właśnie spowoduje nasz zawód lub zdziwienie; uderzy nas jak retusz rzeczywistości, ostrzegając, żeśmy sobie źle przypominali. Charakter twarzy, ostatnim razem przeoczony i z tego powodu najbardziej tym razem uderzający, najrealniejszy, najbardziej korygujący, stanie się z kolei treścią marzenia, wspomnień. Pragniemy ujrzeć jeszcze tęskny i płynny pro-

fil, słodki i marzący wyraz. I wówczas, następnym razem, znowuż samowola bystrych oczu, ostrego noska, zaciśniętych warg skoryguje rozdźwięk między naszym pragnieniem a rzekomym ich przedmiotem. Oczywiście ta wierność pierwszym i czysto fizycznym wrażeniom, odnajdywanym raz po raz u dziewcząt, nie tyczyła jedynie ich rysów. Wspominałem, że byłem równie wrażliwy na ich głos, bardziej może wzruszający (bo nie tylko wywiera to samo swoiste i zmysłowe działanie co twarz, ale należy do niedostępnej otchłani, rodzącej zawrót beznadziejnych pocałunków), na ich głos podobny do jedyne go dźwięku instrumentu, w który każda z nich wkładała siebie całą i który miała tylko ona. Wyczuwalna w każdym akcencie, tajemna linia każdego z tych głosów dziwiła mnie, kiedy ją poznawał, zapomniawszy jej wprzód. Tak że poprawki, jakie za każdym nowym spotkaniem musiałem czynić, aby odzyskać idealną ścisłość, były równie dobrze pracą stroiciela lub nauczyciela śpiewu, jak rysownika.

Co się tyczy harmonijnej spójności, w której od jakiegoś czasu neutralizowały się (przez opór, jaki każda stawiała przewadze innych) rozmaite uczuciowe fale wzbudzone we mnie przez te dziewczęta, spójność ta przerwała się na korzyść Albertyny jednego popołudnia, kiedyśmy się bawili „w lisa”. Było to w gajku na skalnym wybrzeżu. Mając miejsce między dwiema panienkami nienależącymi do „bandy” i zaproszonymi dlatego, żeśmy mieli być tego dnia w liczniejszym gronie, patrzyłem z zazdrością na młodego człowieka, sąsiada Albertyny, powiadając sobie, że gdybym był na jego miejscu, mógłbym dotykać dłoni dziewczęcia, podczas tych niespodzianych minut, które nie wrócą może nigdy, a które mogłyby mnie zaprowadzić bardzo daleko. Już samo z siebie — nawet bez następstw, jakie byłoby zapewne pociągnęło — dotknięcie rąk Albertyny byłoby mi rozkoszne. Nie abym nigdy nie widział piękniejszych rąk. Nawet w grupie jej przyjaciółek ręce Anny, szczuple i o wiele delikatniejsze, miały jakby swoiste życie, posłuszne rozkazom młodej dziewczyny, ale niezależne; i wysuwały się często przed nią niby szlachetne charty, leniwe, rozmarzone, z nagłym przeciąganiem się palców, z powodu którego Elstir zrobił kilka studiów tych rąk. Na jednym, przedstawiającym Annę grzejącą ręce przy ogniu, miały one w blasku złocistą przezroczystość dwóch jesiennych liści. Ale ręce Albertyny, pulchniejsze, poddawały się na chwilę, potem opierały się ściskającej je dłoni, dając wrażenie zupełnie odrębne. Uścisk ręki Albertyny miał zmysłową słodycz, jak gdyby harmonizujący z różową, leciutko lila barwą jej skóry. Ten uścisk dawał wrażenie, że się wnika w dziewczynę, w głębię jej zmysłów — tak samo jak dźwięczność jej śmiechu, nieskromna na kształt gruchania lub pewnych krzyków. Należała do kobiet, których uścisk ręki sprawia tak wielką przyjemność, iż jest się wdzięcznym cywilizacji, że zrobiła z *shakehandu* godziwy akt powitania między pannami a młodymi ludźmi. Gdyby konwenans zastąpił podanie ręki innym gestem, wówczas oglądałbym co dzień nietykalne ręce Albertyny z równie żarliwą ciekawością ich dotyku, jak żarliwą była moja ciekawość smaku jej lic. Ale, myśląc o słodyczy trzymania długo jej rąk między swymi jako sąsiad przy „lisie”, oceniałem nie tylko samą tę przyjemność; ileż wyznań, ileż oświadczeń zahamowanych dotąd przez nieśmiałość mógłbym powierzyć pewnym uściskom ręki; a i jej jakże byłoby łatwo, odpowiadając wzajemnym uściskiem, dać mi znak porozumienia; co za współnictwo, jaki początek rozkoszy! W kilka minut spędzonych tak obok Albertyny miłość moja mogła uczynić większe postępy, niż ich zrobiła od czasu, jak ją znałem. Czując, że te minuty będą trwały krótko, że się niebawem skończą — bo zabawa nie przeciągnie się z pewnością długo, a skoro raz się skończy, będzie już za późno — ledwie mogłem ustać w miejscu. Umyślnie dałem sobie złapać pierścionek, a znalazłszy się w środku, kiedy pierścionek przechodził, udałem, że go nie widzę; i biegłem za nim oczami, czekając chwili, gdy przejdzie do sąsiada Albertyny, która, śmiejąc się co sił, w radosnym zapale gry, była cała różowa. „Jesteśmy teraz właśnie w ładnym gajku, *jak lisek*”, rzekła do mnie Anna, pokazując otaczające nas drzewa; przy czym uśmiech jej oczu przeznaczony był tylko dla mnie i zdawał się przechodzić ponad grającymi, tak jak gdybyśmy tylko my sami byli dość inteligentni, aby się rozdwoić w tej poetycznej aluzji na temat zabawy. Anna posunęła nawet inwencję aż do zanucenia mi bez szczególnego zapachu rytualnej piosenki: „Przechodził tędy lisek — tak, moje panie, tak — przechodził tędy lisek — z ładnego gajku”, jak osoby, które, kiedy się wybiorą do Trianon, muszą tam zorganizować zabawę w stylu Louis XVI, lub które znajdują wdzięk w tym, aby słuchać utworu muzycznego w stylowej ramie. Byłbym, przeciwnie, z pewnością zasmucony, że nie znajdują wdzięk

w tej realizacji, gdybym miał czas myśleć o tym. Ale mój duch był gdzie indziej. Grających obojgę płci zaczynała zdumiewać moja tępota i to, że nie łapię pierścionka. Patrzałem na Albertynę, taką piękną, taką obojętną, taką wesołą; nie przewidywałem, że ma zostać moją sąsiadką, skoro wreszcie pochwycę pierścionek we właściwych rękach, dzięki manewrowi, którego nie podejrzewałem, a który byłby ją z pewnością pogniewał. W zapale gry długie włosy Albertyny rozplotły się i w krętych pasmach opadały jej na policzki, swoim ciemnym i suchym tonem tym bardziej uwydatniając ich różową karnację.

— Ma pani warkoczki godne Laury Dianti, Eleonory Guyeńskiej oraz jej prawnuczki, tak ukochanej przez Chateaubrianda. Powinna by pani zawsze nosić wpół rozplecione włosy — szepnąłem Albertynie do ucha, aby się do niej przybliżyć.

Naraz pierścionek przeszedł do rąk jej sąsiada. Rzuciłem się, otwarłem mu brutalnie ręce, pochwyciłem pierścionek: musiał iść za mnie do koła, a ja zająłem jego miejsce obok Albertyny. Parę minut wprzód zazdrościłem temu młodemu człowiekowi, kiedy widział, jak jego ręce, ślizgając się po sznurku, spotykają co chwila ręce Albertyny. Teraz, kiedy przyszła moja kolej, zbyt nieśmiały, aby szukać zetknięcia, zbyt wzruszony, aby je smakować, czułem już tylko szybkie i bolesne bicie własnego serca. W pewnej chwili Albertyna pochylała do mnie z porozumiewawczą miną swoją pełną i różową twarz, udając, że ma pierścionek, aby zmylić lisa i nie dać mu patrzeć w stronę, którą pierścionek przechodził. Zrozumiałem natychmiast, że znaczące spojrzenia Albertyny odnoszą się do tego podstępu; ale zmieszałem się, widząc, jak przez jej oczy przechodzi — zmyślony po prostu dla celów gry — obraz sekretu, porozumienia, którego nie było między nami, ale które od tej chwili zdało mi się możebne i byłoby mi bosko słodkie. Podczas gdy mnie kołała ta myśl, uczułem lekki ucisk dłoni Albertyny i jej pieszczotliwy palec wsuwający się pod mój palec; zarazem ujrzałem, że ona zmrużeniem oka daje mi znak, który stara się uczynić niedostrzegalnym. Natychmiast tłum nadziei, dotąd niewidocznych dla mnie samego, skryształizował się: „Korzysta z gry, aby mi okazać, że mnie kocha” — pomyślałem na szczycie radości, z którego runąłem niebawem, kiedy Albertyna powiedziała mi, wściekła:

— Ależ niechże pan bierze, od godziny go panu podaję.

Ogluszony rozpaczą, puściłem sznurek, lis spostrzegł pierścionek, rzucił się na niego, musiałem wrócić do środka, zrozpaczony, patrząc na oszalałe koło wirujące dokoła mnie, smagany drwinami dziewcząt, zmuszony nawzajem śmiać się, kiedy tak mało miałem chęci do śmiechu, podczas gdy Albertyna powtarzała:

— Nie trzeba się brać do gry, kiedy się nie chce uważać i tylko się pakuje innych. Nie będzie się go zapraszać w dzień, kiedy będziemy grali, Anda, albo też ja nie przyjdę.

Anna, wyższa ponad te zabawy i nucąca piosnkę o „lisku”, którą jedynie przez ducha naśladownictwa podejmowała bez przekonania Rozamonda, chciała przerwać wymówki Albertyny, mówiąc do mnie:

— Jesteśmy o dwa kroki od tych Creuniers, które pan tak chciał widzieć. O, zaprowadzę pana na samo miejsce ładną dróżką, podczas gdy te wariatki będą udawały ośmioletnie dzieci.

Ponieważ Anna była dla mnie nadzwyczaj miła, zwierzyłem jej w drodze wszystko, co mi się wydawało sposobne dla pozyskania serca Albertyny. Odpowiedziała, że i ona ją bardzo kocha, że Albertyna jest doprawdy urocza; jednakże moje komplementy pod adresem przyjaciółki nie zdawały się Annie sprawiać przyjemności. Naraz, w zapadłej dróżce, zatrzymałem się wzruszony słodkim wspomnieniem dzieciństwa: po wyciętych i błyszczących liściach wysuwających się jakby na próg, poznałem krzak głogu, odarty, niestety, z kwiatów od końca wiosny. Dokoła mnie unosiła się atmosfera dawnych majowych nabożeństw, niedzielnych popołudni, zapomnianych wierzeń i błędów. Byłbym ją chciał pochwycić. Zatrzymałem się na sekundę; z uroczą intuicją Anna pozwoliła mi rozmawiać chwilę z liśćmi tego krzewu. Pytałem ich, co robią kwiaty, owe kwiaty głogu, podobne do wesołych młodych dziewcząt, roztrzepanych, zalotnych i nabożnych. „Och, te panienki odjechały już dawno” — powiadały mi liście. I może myślały, że jak na tego wielkiego przyjaciela, za jakiego się podawałem, nie wydają się zbyt poinformowany o ich zwyczajach. Wielki przyjaciel, co ich nie widział od tylu lat, mimo swoich przyrzeczeń! A przecież, jak Gilberta była dla mnie pierwszą miłością młodej dziewczyny, tak one były moją pierwszą miłością kwiatu. „Tak, wiem, odchodzą w połowie czerwca — odparłem

— ale miło mi jest oglądać miejsce, gdzie mieszkały. Przyszły mnie odwiedzić w Combray w moim pokoju, sprowadzone przez matkę, kiedy byłem chory. I spotykaliśmy się w soboty wieczór na nabożeństwie majowym. Czy mogę na nie chodzić tutaj?”. „Och, naturalnie! Te panienki są bardzo mile widziane w kościele Saint-Denis du Désert, to najbliższa parafia”. „Więc teraz mógłbym je widzieć...”. „Och, nie przed majem przyszłego roku”. „Ale mogę być pewny, że będą tutaj?”. „Regularnie co rok”. „Tylko nie wiem, czy potrafię odnaleźć miejsce”. „Och, z pewnością, te panienki są tak wesołe, bez przerwy śmieją się, o ile nie śpiewają kantyczek, tak że nie może być pomyłki; od samego początku ścieżki poznasz ich zapach”.

Wróciłem do Anny i zacząłem znów przed nią wychwalać Albertynę. Zdawało mi się niemożliwe, aby Anna nie powtórzyła jej moich słów, zważywszy nacisk, z jakim mówiłem. A jednak nigdy nie słyszał, aby się Albertyna dowiedziała o tym. A przecież Anna miała o wiele więcej od Albertyny inteligencji serca, subtelnej uprzejmości. Celowała w tym, aby znaleźć spojrzenie, słowo, postępek, mogące najdelikatniej zrobić przyjemność; ukryć myśl zdolną sprawić przykrość; poświęcić (nie okazując, że to jest poświęcenie) godzinę zabawy, nawet jakiś podwieczorek, *garden-party*, po to aby zostać z przyjacielem lub przyjaciółką w smutku i okazać tym samym, że przekłada ich towarzystwo nad płochę przyjemności. Ale kiedy się znało Annę trochę lepiej, można by rzec, że z nią jest tak jak z owymi bohaterskimi tchórzami, którzy nie chcą się bać i u których odwaga jest szczególną zasługą; można by rzec, że na dzień jej natury nie było wcale owej dobroci, jaką objawiała co chwila przez dystynkcję moralną, przez wrażliwość serca, przez szlachetną wolę okazania się dobrą przyjaciółką. Słuchając przemitych rzeczy, jakie mi mówiła Anna o możliwym związku serc między Albertyną a mną, sądziłoby się, że ona będzie pracowała wszelkimi siłami, aby ziścić ten związek. Otóż może przypadkiem, ale nigdy nie uczyniła najmniejszego drobiazgu — z tego, co mogła uczynić — aby mnie połączyć z Albertyną; i nie przysiągłbym, czy mój wysiłek dla zdobycia serca Albertyny — jeżeli nie spowodował ze strony jej przyjaciółki tajemnych kontrmachinacji — nie obudził bodaj w Annie gniewu, dobrze ukrywanego zresztą i może przez delikatność zwalczanego przez nią samą. Do tysiąca wyrafinowań dobroci, jakie miała Anna, Albertyna byłaby niezdolna; a mimo to, nie byłem tak pewny głębokiej dobroci Anny, jak później byłem pewny dobroci Albertyny. Zawsze pełna tkliwego wyrozumienia dla kipiącej pustoty Albertyny, Anna miała dla niej słowa i uśmiechy prawdziwej przyjaciółki; co więcej, postępowała jak przyjaciółka. Widziałem co dzień, jak aby dzielić z Albertyną swój zbytek, aby uszczęśliwić tę ubogą koleżankę, zadawała sobie, nie mając w tym najmniejszego interesu, więcej trudu niż dworak żądny pozyskać łaskę panującego. Była czarująco słodka, miała smutne i uroczne słowa, kiedy się przy niej ubolewało nad ubóstwem Albertyny; zadawała sobie dla niej tysiąc razy więcej trudu, niżby to uczyniła dla jakiej bogatej przyjaciółki. Ale jeżeli ktoś zauważył, że Albertyna nie jest może taka biedna, jak się mówi, ledwie dostrzegalna chmura przesłaniała czoło i oczy Anny; była jak gdyby niezadowolona. A jeżeli się ktoś posunął do twierdzenia, że ostatecznie mniej może trudno będzie Albertynie wyjść za męża, niżby się sądziło, Anna przeczyła energicznie i powtarzała niemal wściekła: „Niestety, nie! Niepodobna jej będzie znaleźć męża! Wiem z pewnością, i bardzo mnie to martwi!”. W stosunku do mnie ze wszystkich dziewcząt ona jedna nie powtórzyłaby mi nigdy czegoś niezbyt miłego, co by ktoś mógł o mnie powiedzieć; co więcej, o ile ja sam opowiadałem coś takiego, udawała, że nie wierzy, lub podsuwała interpretację, odejmującą danym słowom sens ujemny: zbiór tych właśnie przymiotów nazywamy taktem. Jest on właściwością ludzi, którzy, kiedy mamy pojedynek, winszują nam i dodają, że nie było koniecznego powodu do orężnego starcia, aby tym jeszcze pomnożyć w naszych oczach odwagę, jakiej złożyliśmy dowód, nie będąc do tego zmuszeni. Są przeciwieństwem ludzi, którzy w tych samych okolicznościach mówią: „To musi być bardzo przykre dla pana bić się; ale z drugiej strony nie mógł pan połknąć takiego afrontu, nie mógł pan zrobić inaczej”. Ale każda rzecz ma dwie strony. Jeżeli przyjemność lub bodaj obojętność naszych przyjaciół w powtarzaniu nam czegoś obraźliwego, co o nas powiedziano, świadczy, że nie bardzo wczuwają się w nas, waląc w nas jak w bęben, w zamian sztuka skrywania nam zawsze tego, co może nam być niemiłe w sądach, jakie o nas słyszeli, lub w sądzie, jaki powzięli stąd o nas sami, może dowodzić — u przyjaciół drugiej kategorii, u owych przyjaciół pełnych taktu — znacznej dawki

obludy. Obluda niewinna, jeżeli w istocie nie mogą myśleć nic złego i jeżeli owe ujemne sądy o nas sprawiają im jedynie przykrość, jak sprawiłyby ją nam samym. Myślałem, że tak jest z Anną, nie będąc jednak tego absolutnie pewny.

Wyszliliśmy z lasku i szliśmy siecią dość mało uczęszczanych drózek, w których Anna orientowała się bardzo dobrze:

— Ot — rzekła naraz — pańskie sławne Creuniers, i ma pan szczęście, właśnie w taki czas, w takim świetle, w jakim je Elstir malował.

Ale byłem jeszcze zbyt smutny, że grając w lisa, spadłem z takiego szczytu nadziei. Toteż bez przyjemności, jaką byłbym z pewnością odczuł w innych okolicznościach, ujrzałem nagle u swoich stóp wtulone między skały, gdzie się chroniły przed upałem, boginie morskie, które Elstir tropił i zdybał, pod ciemnym stokiem równie pięknym, co gdyby był pędzla Leonarda; cudowne Cienie schowane i ulotne, ruchliwe i milczące, gotowe za pierwszą falą światła wślizgnąć się pod kamień, ukryć się w szczelinę, po czym, skoro przejdzie groźba promienia, gotowe wrócić szybko do skał lub wodorostów pod słońcem rozpylającym głązy, i do odbarwionego Oceanu, nad którego sennością zdają się czuwać te nieruchome i lekkie strażniczki, ukazując na powierzchni wód swoje lepkie ciała i uważne spojrzenie ciemnych oczu.

Połączyliśmy się z resztą dziewcząt, aby wracać. Wiedziałem teraz, że kocham Albertynę; ale, niestety, nie kwapiłem się jej tego wyznać. Bo od czasu zabaw na Polach Elizejskich, o ile istoty, jakich się chwytala kolejno moja miłość, pozostawały prawie identyczne, moje pojęcie miłości zmieniło się. Z jednej strony wyznanie, zwierzenie moich uczuć ukochanej osobie nie wydawało mi się już zasadniczym i koniecznym aktem miłości; a sama miłość nie zdawała mi się zewnętrzną realnością, lecz tylko subiektywną przyjemnością. I czułem, że Albertyna tym więcej czyniłaby wszystko, co trzeba, aby tę przyjemność podtrzymać, im bardziej byłaby nieświadoma tego, że jej doznaję.

Przez cały ten powrót obraz Albertyny, roztopiony w świetle promieniejącym z innych dziewcząt, nie był jedynym, który istniał dla mnie. Ale jak księżyc, będący w ciągu dnia zaledwie białą chmurką o bardziej określonej i stałej formie, nabiera całej swojej mocy z chwilą, gdy dzień zgaśnie, tak za powrotem do hotelu jedynie obraz Albertyny wzniósł się w moim sercu i zaczął w nim błyszczeć. Własny pokój wydał mi się nagle nowy. Zapewne od dawna nie był już owym wrogim pokojem z pierwszego wieczora. Zmieniamy niestrudzenie swoje mieszkanie dokoła siebie; w miarę jak przyzwyczajenie zwalnia nas od czucia, usuwamy szkodliwe składniki koloru, wymiaru i zapachu, obiektywizujące naszą przykrość. Nie był to już również pokój mający jeszcze dość wpływu na moją wrażliwość, nie aby mi kazać cierpieć, ale aby mi dać radość; to już nie była owa kadź pełna pięknych dni, podobna do basenu, gdzie błyszczał lazur rozcieńczony światłem, jakie skupił na chwilę, nieuchwytny i biały niby emanacja upału, odbity i uciekający żagiel; ani też nie był to czysto estetyczny pokój malarskich wieczorów; to był pokój, gdzie spędził tyle dni, że go już nie widziałem. Otóż w tej chwili zacząłem na nowo otwierać na niego oczy, ale tym razem z egoistycznego punktu widzenia, właściwego miłości. Myślałem, że to piękne, skośne lustro, te wytworne oszklone szafy, dałyby Albertynie, gdyby mnie przyszła odwiedzić — korzystne pojęcie o mnie. W miejsce przelotnej siedziby, gdzie spędził chwile przed wymknięciem się na plażę lub do Rivebelle, mój pokój stawał mi się znów rzeczywisty i drogi, odnawiał się, bo widziałem i oceniałem każdy jego mebel oczami Albertyny.

W kilka dni po grze w lisa, kiedyśmy się na jakimś spacerze wypuścili za daleko, ucieszyliśmy się, znalazłszy w Maineville dwa wózeczki po dwa miejsca, które nam pozwoliły zdążyć na obiad. Uczucie moje do Albertyny, już wówczas żywe, miało ten skutek, że kolejno zaproponowałem Rozamondzie i Annie, aby siadły ze mną, a ani razu Albertynie; a później, że, wciąż zapraszając szczególnie Annę i Rozamondę, a równocześnie argumentując chytrze względami na godzinę, na drogę i na płaszcze, doprowadziłem je wreszcie do tego, aby zdecydowały, jak gdyby wbrew mojej woli, że najpraktyczniej będzie, gdy zabiorę z sobą Albertynę, na której towarzystwo wydawałem się zrezygnowany. Na nieszczęście miłość dąży do całkowitego wchłonięcia drugiej istoty, nie da się jej spożyć wyłącznie przez konwersację! Toteż daremnie Albertyna była ze mną w tej powrotnej drodze niezmiernie miła; kiedy ją wysadziłem przed domem, zostawiła mnie szczęśliwym, ale bardziej jeszcze zgłodniałym jej niż byłem przy wyjeździe i liczącym spędzone z nią



chwile jedynie jako wstęp — sam przez się mało ważny — do chwil, które nastąpią. Ten wstęp miał zresztą ów pierwszy urok, jakiego się już nie odnajduje. O nic jeszcze nie prosiłem Albertyny. Mogła zgadywać, czego pragnę; ale, nie będąc tego pewna, mogła przypuszczać, że ja dążę jedynie do stosunków bez określonego celu, w których ona sama musiała znajdować ową rozkoszną mglistość, bogatą w oczekiwane niespodzianki, słowem — romantyczność.

W następnym tygodniu ledwie się starałem ujrzeć Albertynę. Udawałem, że wolę Annę. Miłość zaczyna się, chciałoby się zostać dla kochanej osoby nieznanym, którego ona może pokochać; ale potrzebuje się jej, potrzebuje się dotykać nie tyle jej ciała, ile jej myśli, serca. Pisząc do niej, wsuwa się w list jakąś złośliwość, która każe obojętnej poprosić nas o coś miłego; i miłość, wedle niezawodnej techniki, chwyta nas przerywanym ruchem w tryby, w których niepodobna już ani nie kochać, ani być kochanym. Oddawałem Annie godziny, w których inne szły na jakąś zabawę, wiedząc, że Anna poświęci ją dla mnie z ochotą i poświęciłaby mi ją nawet z żalem, przez wykwinął moralny, aby w drugich i w sobie samej nie dopuścić myśli, że przywiązuje wagę do jakiejś światowej rozrywki. Starałem się ją mieć co wieczora wyłącznie dla siebie, nie tyle pragnąc w Albertynie wzbudzić zazdrość, ile zwiększyć w jej oczach swój urok lub bodaj nie stracić go, co mi groziło, gdybym okazał Albertynie, że kocham ją, a nie Annę. Nie mówiłem tego również Annie z obawy, by nie powtórzyła tamtej. Kiedy mówiłem o Albertynie z Anną, udawałem chłód, w który Anna może mniej wierzyła niż ja w jej pozorną łatwowierność. Ona udawała, że wierzy w moją obojętność dla Albertyny i że pragnie najdoskonalszego zbliżenia między Albertyną a mną. Prawdopodobne jest, iż, przeciwnie, ani wierzyła w jedno, ani pragnęła drugiego. Podczas gdy ja mówiłem, że dość mało zależy mi na jej przyjaciółce, myślałem tylko o jednym: o tym, aby wejść w stosunki z panią Bontemps, która znalazła się na tydzień w pobliżu Balbec i u której Albertyna miała niebawem spędzić parę dni. Oczywiście nie zdradzałem przed Anną tego pragnienia i kiedy ja mówiłem o rodzinie Albertyny, robiłem to z pozorną obojętnością. Ścisłe odpowiedzi Anny nie zdawały się podawać w wątpliwość mojej szczerości. Czemuż jednego z owych dni wyrwało się jej: „Właśnie widziałam ciotkę Albertyny”. Zapewne, Anna nie powiedziała mi: „Odgadłem pod wszystkimi twymi słowami, rzucanymi niby na wiatr, że ty myślisz tylko o tym, aby się zbliżyć do ciotki Albertyny”. Ale słówko: „właśnie” zdawało się wiązać w myślach Anny specjalnie z tą myślą, którą uważała za ładniejszą ukryć przede mną. To słówko było z gatunku pewnych spojrzeń, gestów, które, mimo iż nie mają formy logicznej, racjonalnej, wprost wypracowanej dla inteligencji słuchacza, dochodzą doń wszelako w swoim prawdziwym znaczeniu, tak jak słowo ludzkie, zmienione w telefonie w elektryczność, staje się na powrót słowem i dochodzi naszych uszu. Aby zatrzeć w głowie Anny myśl, że ja się interesuję panią Bontemps, mówiłem później o niej nie tylko obojętnie, ale niezbyt chętnie; mówiłem, że spotykałem dawniej tę wariatkę i mam nadzieję, że już mi się to nie zdarzy. Otóż, wręcz przeciwnie, próbowałem na wszystkie sposoby spotkać ją.

Starałem się uzyskać od Elstira, aby, nie mówiąc nikomu, że go prosił o to, wspomniał pani Bontemps o mnie i zetknął mnie z nią. Przyrzekł mi jej przedstawić, dziwiąc się zresztą, że ja sobie tego życzę, uważał ją bowiem za kobietę lichego gatunku, intrygantkę i równie nieinteresującą jak interesowną. Myśląc, iż gdybym wszedł w stosunki z panią Bontemps, prędzej lub później Anna wiedziałaby o tym, sądziłem, że lepiej ją uprzedzić.

— Rzeczy, których najbardziej chcemy uniknąć, bywają właśnie nie do uniknięcia — rzekłem. — Nie może być dla mnie nic nudniejszego niż spotkać panią Bontemps, a mimo to nie ominie mnie to, Elstir ma mnie zaprosić z nią razem.

— Nie wątpiłam o tym ani na chwilę — wykrzyknęła Anna z goryczą, przy czym jej rozszerzone i zmienione niezadowolaniem oczy wpatrywały się w coś niewidzialnego. Te słowa Anny nie były najściślejszym wyrazem myśli, którą można by streścić tak: „Wiem, że kochasz Albertynę i stajesz po prostu na głowie, aby się zbliżyć do jej rodziny”. Były to raczej bezkształtne, ale dające się zestawić szczątki tej myśli, którą przyprawilem o eksplozję, potracając ją mimo woli Anny. Jak owo „właśnie”, tak i te słowa miały sens jedynie pośrednio; to znaczy były z tych, które (bardziej od słów mówiących wprost) budzą w nas szacunek lub nieufność w stosunku do kogoś, stają się przyczyną zerwania.

Skoro Anna nie uwierzyła mi, kiedy jej mówiłem, że rodzina Albertyny jest mi obojętna, znaczy to, że myślała, iż ja kocham Albertynę. I zapewne nie sprawiało jej to przyjemności.

Zazwyczaj Anna brała udział w moich spotkaniach z jej przyjaciółką. Jednakże bywały dni, kiedy miałem widzieć Albertynę samą. Owych dni oczekiwałem w gorączce; mijały, nie przynosząc mi nic rozstrzygającego, nie stawszy się owym zasadniczym dniem, którego rolę powierzałem natychmiast następnemu, niemającemu jej spełnić również; i tak walili się jeden po drugim — niby fale — owe szczyty natychmiast zastępowane innymi.

Blisko w miesiąc po zabawie w lisa, powiedziano mi, że Albertyna wyjeżdża nazajutrz, aby spędzić dwa dni u pani Bontemps i że, zmuszona wstać wcześniej na pociąg, zanocuje poprzedniego dnia w Grand-Hotelu, skąd będzie mogła omnibusem, nie robiąc kłopotu przyjaciółkom, u których mieszkała, zdążyć do pierwszego pociągu. Wspomniałem o tym Annie.

— Nie przypuszczam, aby to była prawda — rzekła niechętnie Anna. — Zresztą to by panu niewiele pomogło, bo jestem pewna, że Albertyna nie zechce się z panem widzieć, jeżeli się zatrzyma w hotelu sama. To by nie było protokolarne — dodała, posługując się przymiotnikiem, którego od jakiegoś czasu lubiła używać w znaczeniu czegoś, co „nie wypada”. — Mówię to panu, bo znam poglądy Albertyny. Bo ja, cóż pan chce, co mi może zależeć na tym, czy ją pan zobaczy czy nie. Mnie to jest obojętne.

Przyłączył się do nas Oktaw, niedrożący się z opowiedzeniem Annie ilości punktów, jakie zrobił poprzedniego dnia w golfa, a potem Albertyna, manewrując po drodze swoim *diabolo* niby zakonnica różańcem. Dzięki tej grze mogła spędzać całe godziny sama, nie nudząc się. Skoro podeszła do nas, uderzył mnie krnąbrny koniuszek jej nosa, który pominąłem, myśląc o niej w ostatnich dniach; pod czarnymi włosami prostopadłość jej czoła przeciwstawiła się — i to nie pierwszy raz — przechowanemu przeze mnie mętnemu obrazowi tego czoła, kiedy swoją białością wgryzało się w moje spojrzenia: wyłaniając się z pyłu wspomnień, Albertyna odbudowywała się przede mną. Golf stwarza nawyk samotnych przyjemności. Te, które daje *diabolo*, niewątpliwie należą do nich. Jednakże zbliżywszy się do nas, Albertyna ćwiczyła się dalej, wciąż rozmawiając z nami, jak dama, do której zaszły przyjaciółki, nie przerywa sobie roboty szydełkiem.

— Zdaje się — rzekła do Oktawa — że pani de Villeparisis wniosła reklamację do pańskiego ojca... — (i usłyszałem poza tym zdaniem nuty szczególnie właściwe Albertynie; za każdym razem, kiedy stwierdzałem, że ich zapomniałem, przypominałem sobie równocześnie, że już widział za nimi rezolutną i francuską minę Albertyny. Mógłbym oślepnąć, a poznać niektóre z jej energicznych i nieco prowincjonalnych cech w owych nutach, równie dobrze jak w zakończeniu jej noska. Obie te rzeczy były równoważące i mogły się zastąpić wzajem; a głos jej był jak ten, który ziści się — powiadają — w fototelefonie przyszłości: dźwiękiem kreślił wyraźnie wzrokowy obraz). — Nie tylko napisała do pańskiego ojca, ale równocześnie do mera Balbec, żeby nie było już wolno grać w *diabolo* na promenadzie; dostała krążkiem w głowę.

— Tak, słyszałem już o tej skardze. To śmieszne. Nie mamy tu zbyt wiele rozrywek.

Anna nie mieszała się do rozmowy; nie знаła, tak samo zresztą jak Albertyna i Oktaw, pani de Villeparisis.

— Nie wiem, czemu ta dama narobiła takich historii — rzekła wreszcie Anna — stara pani Cambremer też dostała krążkiem, a nie skarżyła się.

— Ja wam wytłumaczę różnicę — rzekł poważnie Oktaw, pocierając zapałkę. — Wedle mego zdania, pani de Cambremer to jest kobieta z wielkiego świata, a pani de Villeparisis tylko się tam wpycha. Czy pójdziecie na golfa po południu?

I opuścił nas, zarówno jak Anna. Zostałem sam z Albertyną.

— Widzi pan — rzekła — noszę teraz włosy tak jak pan lubi; niech pan popatrzy na ten loczek. Wszyscy drwią sobie, a nikt nie wie, dla kogo to robię. Ciotka będzie sobie również żartowała ze mnie. Także nie powiem jej przyczyny.

Patrzałem z boku na policzki Albertyny; często wydawały się blade, ale w tej chwili były nastrzykane jasną krwią, która je rozświetlała i dawała im połysk owych zimowych poranków, kiedy w słońcu kamienie robią się podobne do różowego granitu i wydzielają radość. Radość, jaką mi dawał w tej chwili widok lic Albertyny, była równie żywa, ale

wiodła do innego pragnienia — nie przechadzki, lecz pocałunku. Spytałem, czy naprawdę ma ten zamiar, o którym słyszałem.

— Tak — rzekła — przenocuję w hotelu, a że jestem trochę zakatarzona, położę się przed obiadem. Może mi pan asystować do obiadu przy łóżku, a potem będziemy się bawili, w co pan zechce. Cieszyłabym się, gdyby pan przyszedł na kolej jutro rano, ale boję się, żeby się to nie wydało dziwne, nie mówię Annie, bo ona jest inteligentna, ale innym, które tam będą. Gdyby to powiedziano ciotce, wynikłyby stąd całe historie: ale będziemy mogli spędzić ten wieczór razem. O tym ciotka nic się nie dowie. Pójdę się pożegnać z Anną. Zatem, do zobaczenia. Niech pan przyjdzie wcześniej, będziemy mieli dobrych parę godzin dla siebie — dodała z uśmiechem.

Słowa te cofnęły mnie dalej niż w czasy, gdym kochał Gilbertę; w czas, gdy miłość zdawała mi się istnością nie tylko zewnętrzną, ale mogącą się urzeczywistnić. Podczas gdy Gilberta widywana na Polach Elizejskich była inną od tej, którą odnajdywałem w sobie, zostawszy sam, naraz w Albertynę rzeczywistą, tę, którą widywałem co dzień, którą uważałem za pełną mieszczańskich przesądów i tak szczerą wobec ciotki, wcieliła się Albertyna imaginacyjna, ta, która — kiedy jej nie znałem jeszcze — przyglądała mi się (tak sądziłem) ukradkiem na promenadzie, która szła do domu jak gdyby wbrew chęci, patrząc, jak ja się oddalam.

Poszedłem na obiad z babką, czułem w sobie sekret, którego ona nie znała. Toż samo z Albertyną: jutro przyjaciółki zobaczą ją, nie wiedząc, ile nowego zaszło między nami! I pani Bontemps, całując siostrzenicę w czoło, nie będzie wiedziała, że ja jestem między nimi, w tym uczesaniu, które miało za cel — ukryty dla wszystkich — podobać się mnie, mnie, dotąd tak zazdroszczącemu pani Bontemps, że jest spokrewniona z tymi samymi osobami, co jej siostrzenica, że nosi te same żaloby, składa te same familijne wizyty; otóż ja czułem się dziś dla Albertyny czymś więcej nawet niż jej ciotka. Będąc z ciotką, będzie myślała o mnie. Co się miało dziać za chwilę, nie bardzo wiedziałem. W każdym razie Grand-Hotel i wieczór nie wydawały mi się już puste; zawierały moje szczęście. Zadzwoiłem na windziarza, aby pójść do pokoju (od strony doliny), który zatrzymała Albertyna. Najłżejsze ruchy — na przykład usiąść na ławeczce w windzie — sprawiały mi rozkosz, bo były w bezpośrednim związku z moim sercem; w linach, przy których pomocy aparat się wznosił, w kilku schodach pozostałych do przebycia widziałem jedynie zmaterializowany mechanizm swojej radości. Miałem już tylko parę kroków do pokoju, gdzie była zamknięta szacowna substancja tego różowego ciała. Ów pokój, nawet gdyby się tam miały dziać upajające rzeczy, zachowałby tę codzienność, ten wygląd, że jest — dla niepoinformowanego przechodnia — podobny do wszystkich innych; cechy czyniące z martwych przedmiotów uparcie niemych świadków, skrupulatnych powierników, nieprzedajnych piastunów rozkoszy.

Tych kilka kroków do progu Albertyny, kilka kroków, których już nikt nie mógł powstrzymać, zrobiłem z rozkoszą, ostrożnie, jakby zanurzony w nowym żywiole, jak gdybym posuwając się wolno, przenosił szczęście. Zarazem czyniłem to z nieznanym uczuciem wszechpotęgi, z uczuciem, że obejmuję wreszcie dziedzictwo, od wszech czasów będące moim. Potem nagle pomyślałem, że niesłusznie mam wątpliwości; powiedziała mi, żebym przyszedł, kiedy się położę. To było jasne, drżałem z radości, na wpół przewróciłem Franciszkę, która znalazła się na drodze; biegłem z błyszczącymi oczami do pokoju Albertyny.

Zastałem ją w łóżku. Odslaniając szyję, biała koszula zmieniała proporcje jej twarzy, która, przekrwiona leżeniem, katarem lub obiadem, zdawała się różowsza; pomyślałem o kolorach, które miałem kilka godzin wprzód obok siebie na promenadzie i których wreszcie miałem poznać smak; policzek jej przecinało pionowo pasmo czarnych i kręjących się włosów, które na moją intencję Albertyna rozplotła całkowicie. Patrzała na mnie z uśmiechem. Obok niej w oknie blask księżycy oświecał dolinę. Widok nagiej szyi Albertyny, widok tych nazbyt różowych policzków, wprawiał mnie w upojenie, to znaczy pomieścił dla mnie rzeczywistość świata już nie w naturze, ale w strumieniu wrażeń, które z trudem mogłem powstrzymać. Widok ten zwichnął równowagę między olbrzymim, niezniszczalnym życiem, toczącym się w głębi mnie, a życiem wszechświata, tak wątlwym w porównaniu z tamtym. Morze, widziane w oknie obok doliny, wzdęte łona najbliż-

szych skał Maineville, niebo, na którym księżyc jeszcze nie dosięgnął zenitu, wszystko to zdawało się lżejsze niż piórko kulom moich źrenic, które czułem między powiekami, rozszerzone, odporne, gotowe dźwignąć na swej delikatnej powierzchni o ileż większe ciężary, wszystkie góry świata! Orbity ich nie wypełniała dostatecznie nawet sfera horyzontu. I wszystko życie, jakie mogłaby przynieść natura, wydałoby mi się bardzo nikłe; wiatr od morza wydałby mi się bardzo słaby dla olbrzymiego wdechu wznoszącego moją pierś.

Nachyliłem się nad Albertyną, aby ją pocałować. Gdyby śmierć miała mnie ugodzić w tej chwili, wydałoby mi się to obojętne lub raczej niemożliwe, bo życie nie było poza mną — było we mnie. Uśmiechnąłem się litośnie, gdyby jakiś filozof mi oznajmił, że pewnego dnia, bodaj odległego, będąc musiał umrzeć, że wiekuiste siły natury przeżyją mnie, siły owej natury, pod której boskimi stopami byłem tylko ziarnkiem pyłu; że po mnie będą jeszcze istniały te okrągłe i wydęte skały, to morze, ten blask księżyca, to niebo! Jakżeby to było możliwe, jakżeby ten świat mógł trwać dłużej ode mnie, skoro ja nie byłem zgubiony w nim, skoro to on był zawarty we mnie, we mnie, którego niezdolny był wypełnić, we mnie, gdzie, czując w sobie miejsce dla tylu innych skarbów, rzucałem wzgardliwe w kąt niebo, morze i skały.

— Przystań, bo zadzwonię — wykrzyknęła Albertyna, widząc, że się rzucam, aby ją całować. Ale ja sobie powiadałem, że jeżeli dziewczyna sprowadza młodego człowieka po kryjomu, urządzając się tak, aby ciotka o niczym nie wiedziała, to nie po to, aby się to skończyło na niczym; że odwaga sprzyja tym, co umieją korzystać ze sposobności. W tym stanie podniecenia krągła twarz Albertyny, oświetlona wewnętrznym ogniem niby nocną lampką, nabierała dla mnie takiej plastyki, że, naśladując obrót płonącej kuli, zdawała mi się kręcić, niby owe twarze Michała Anioła unoszone nieruchomym i zawrotnym wirami. Miałem poznać zapach, smak tego różowego, nieznanego owocu...

Usłyszałem gwałtowny, przeciągły i krzykliwy dźwięk. Albertyna zadzwoniła ze wszystkich sił.

Sądziłem, że miłość moja do Albertyny nie opiera się na nadziei fizycznego posiadania. Jednakże kiedyś — wnosząc za doświadczenia tego wieczoru — uwierzył, że to posiadanie jest niemożliwe i że, wywnioskowawszy pierwszego dnia na plaży, iż Albertyna jest zepsuta, przeszedłszy później przez pośrednie stadia, uznałem obecnie jako niewątpliwą fakt to, że ona jest absolutnie cnotliwa; kiedy, wróciwszy od ciotki w tydzień później, powiedziała mi chłodno: „Przebaczam panu, żałuję nawet, że panu sprawiła przykrość, ale niech pan już nie robi tego nigdy” — wówczas, na wspak memu stanowi ducha po rewelacji Blocha, iż można mieć wszystkie kobiety, doznałem uczucia takiego, jak gdybym w miejsce rzeczywistej młodej dziewczyny, miał do czynienia z lalką woskową. Tym samym znikło gdzieś moje pragnienie wniknięcia w życie Albertyny, pójścia za nią w kraje jej dzieciństwa, wniknięcia przez nią w życie sportu. Moja intelektualna ciekawość tego, co ona myśli o tym lub owym przedmiocie, nie przeżyła wiary w możliwość całowania jej. Moje marzenia porzuciły ją, skoro przestała je podsycać nadzieją posiadania, od której sądziłem, że są niezależne. Z tą chwilą marzenia te uczuły się swobodne, zdolne kierować się na tę lub inną z przyjaciółek Albertyny, szczególnie Annę — zależnie od uroku którejś z nich danego dnia, a zwłaszcza od możliwości i widoków pozyskania ich serca. Jednakże gdyby Albertyna nie była istniała, może nie zaznałbym przyjemności, jaką coraz to więcej przez następne dni zacząłem znajdować w sympatii, którą mi okazywała Anna.

Albertyna nie opowiedziała nikomu mojej porażki. Była ona z tych ładnych dziewczyn, które, od najwcześniejszej młodości, dla swojej urody, ale zwłaszcza dla jakiegoś powabu, dla wdzięku dość tajemniczego zresztą i mającego źródło może w zasobach żywotności, z których mniej szczęśliwe natury czerpią, zawsze — w swojej rodzinie, wśród przyjaciółek, w towarzystwie — podobały się bardziej niż najpiękniejsze i najbogatsze. Była z rzędu istot, od których przed wiekiem miłości, a tym bardziej kiedy ten wiek przyszedł, żąda się więcej, niż one żądają, a nawet niż mogą dać. Od dzieciństwa Albertyna była zawsze przedmiotem podziwu kilku małych towarzyszek; wśród nich Anny, która była od niej o tyle wartościowsza i wiedziała o tym. Może ta siła przyciągania, jaką bardzo mimo woli wywierała Albertyna, była początkiem i podstawą powstania małej „bandy”. Przyciąganie to sięgało nawet dość daleko w środowiska stosunkowo świetniejsze, gdzie kiedy trzeba było odtaćzyć pawane, proszono o to raczej Albertynę niż inną

lepiej urodzoną panienkę. Następstwem tego było, że bez grosza posagu, żyjąc dość lichy zresztą na łasce pana Bontemps, mającego opinię brudasa i pragnącego się pozbyć siostrzenicy, Albertyna bywała zapraszana nie tylko na obiad, ale na dłuższy pobyt do osób, które w oczach takiego Saint-Loup byłyby dalekie od wytworności, ale które dla matki Rozamondy lub Anny, kobiet bardzo bogatych, lecz nieustosunkowanych, były czymś niesłychanym. I tak Albertyna spędzała co roku kilka tygodni w domu regenta Banku Francuskiego, prezesa rady nadzorczej wielkiego Towarzystwa Kolei Żelaznych. Żona tego finansisty przyjmowała znaczne osoby i nigdy nie zaprosiła na swój „żurek” matki Anny, która uważała tę damę za impertynentkę, niemniej interesując się mocno wszystkim, co się u niej dzieje. Toteż zachęcała co roku Annę, aby zaprosiła Albertynę do ich willi, bo (powiadała) to jest dobry uczynek dać odetchnąć morskim powietrzem dziewczynie, która sama nie ma środków na podróż, a którą ciotka prawie że się nie zajmuje. Matka Anny nie powodowała się zapewne nadzieją, że regent banku i jego żona, dowiedziawszy się, iż Albertyna tyle zawdzięcza jej i jej córce, powźmie o nich dobre mniemanie; tym bardziej nie spodziewała się, aby Albertyna, mimo iż tak pocziwa i zręczna, potrafiła wyjednać jej lub co najmniej Annie zaproszenie na *garden-party* u wielkiego finansisty. Ale za każdym razem przy obiedzie, przybierając przy tym wzgardliwą i obojętną minę, z zachwytem słuchała opowiadań Albertyny o jej pobycie w pałacu, o ludziach, którzy tam bywają, a których znała prawie wszystkich z widzenia lub z nazwiska. I nawet myślała, że zna ich tylko w ten sposób, to znaczy nie zna (nazywała to znać ludzi „od zawsze”) wzbudzała w matce Anny cięć melancholii, gdy wypytywała o nich Albertynę wyniośle i od niechcienia. Ta myśl mogłaby tchnąć w matkę Anny niepewność i niepokój co do ważności własnej pozycji, gdyby się nie skrzepiła na duchu sama i nie wróciła do „realności życia”, mówiąc z godnością kamerdynerowi: „Powiedz kucharzowi, że groszek był nie dość soczysty”. Wówczas odnajdywała pogodę ducha. I była zdecydowana pozwolić Annie wyjść za mąż jedynie za człowieka z doskonałej rodziny oczywiście, ale dość bogatego na to, aby mogła mieć kucharza i dwóch stangretów. To było pozytywne, niewątpliwa prawda danej sytuacji. Niemniej fakt, że Albertyna była na obiedzie w pałacu regenta Banku z taką lub taką damą, że ta dama zaprosiła ją nawet na następną zimę, to jednak dawało młodej dziewczynie w oczach matki Anny osobliwy urok. Urok ten kojarzył się wybornie z litością, a nawet politowaniem wzbudzonym jej ubóstwem, a pomnożonym faktem, że pan Bontemps zdradził sztandar i sprzymierzył się — nawet trochę panamista, powiadano! — z rządem. To nie przeszkadzało zresztą matce Anny — przez miłość prawdy — piorunować wzgardy ludzi, którzy zdawali się wierzyć, że Albertyna jest niskiego pochodzenia. „Jak to, ależ to świetna rodzina, co tylko może być najlepszego: Simonet, przez jedno «n»”. Z pewnością w środowisku, w którym się to działo, gdzie pieniądź gra taką rolę, gdzie elegancja daje prawo bywania, ale nie żenienia się lub wyjścia za mąż, żadna znośna partia nie zapowiadała się dla Albertyny jako praktyczne następstwo wysokich stosunków, których nie uznano by za kompensatę jej ubóstwa. Ale nawet same w sobie, bez nadziei konsekwencji matrymonialnych, te jej „sukcesy” wzniewały zawiść niektórych matek, bab złych i wściekłych o to, że żona regenta Banku, a nawet o to, że matka Anny — osoby, które one zaledwie znały — przyjmują Albertynę „jak córkę”. Toteż opowiadały wspólnym znajomym, że te panie byłyby oburzone, gdyby wiedziały prawdę, to znaczy, że Albertyna opowiada u jednej (i *vice versa*) wszystko, co zażyłość, do której ją niebacznie dopuszczano, pozwala jej odkryć u drugiej; tysiąc drobnych sekretów, których obieg byłby zainteresowanej osobie bardzo niemiły. Zawistne baby mówiły to w tym celu, aby poróżnić Albertynę z jej protektorkami. Ale te intrygi, jak często się dzieje, nie działały. Znadto czuć w nich było zawiść, co rodziło tylko nieco więcej wzgardy dla kobiet chwytających się tego sposobu. Matka Anny zbyt dobrze wiedziała, co myśleć o Albertynie, aby miała zmienić sąd o niej. Uważała ją za „nieszczęśliwą”, ale za dobrą dziewczynę, myśląc tylko o tym, aby drugim zrobić przyjemność.

Jeżeli powodzenie Albertyny nie wróżyło praktycznego rezultatu, dało jej ono ową charakterystyczną cechę osób zawsze poszukiwanych, nigdy niepotrzebujących się narzucać (cecha, występująca również, z analogicznych przyczyn, na drugim krańcu społeczeństwa, u kobiet z bardzo wytwornego świata). Albertyna nie tylko nie popisywała się sukcesami, ale raczej kryła się z nimi. Nie mówiła nigdy o kimś: „Przepada za mną”; mówiła o wszystkich bardzo życzliwie, tak jakby to ona uganiała się za innymi, szukając

ich towarzystwa. Kiedy była mowa o młodym człowieku, który kilka minut przedtem robił jej w cztery oczy krwawe wymówki, bo mu odmówiła schadzki, Albertyna, daleka od przechwałek lub urazy, chwaliła go: „To taki miły chłopiec”. Była nawet znudzona swoim powodzeniem, bo ją zmuszało do robienia przykrości, gdy z natury lubiła robić przyjemność. Lubiła robić ją wręcz do tego stopnia, że zaczęła uprawiać kłamstwo właściwe niektórym karierowiczom, czasem ludziom, którzy już zrobili karierę. Ten rodzaj nieszczerości, istniejący zresztą w stanie embrionalnym u wielu, polega na tym, aby czyniąc coś, nie ograniczyć się do sprawienia tym przyjemności jednej osobie. Jeżeli na przykład pani Bontemps chciała, aby siostrzenica towarzyszyła jej na nudną wizytę, czyniąc to, Albertyna mogłaby poprzestać na tej korzyści moralnej, że robi przyjemność ciotce. Ale mile przywitana przez gospodarzy, wołała im powiedzieć, że od dawna pragnąc ich widzieć, schwyciła tę sposobność i wyprosiła u ciotki pozwolenie. To jeszcze nie wystarczyło: Albertyna spotkała tam jakąś przyjaciółkę, mającą wielkie zmartwienie; z punktu mówiła jej: „Nie chciałam cię zostawić samej, myślałam, że to ci dobrze zrobi, iż będziesz mnie miała blisko. Jeżeli chcesz, zostawmy tę zabawę, chodźmy stąd, zrobię, co zechcesz, przede wszystkim chcę, żebyś ty była mniej smutna” (co było zresztą prawdą). Zdarzało się, że ten fikcyjny cel niweczył cel realny. I tak, mając prosić o przysługę dla którejś z przyjaciółek, Albertyna udała się do pewnej damy. Ale przybywszy do tej osoby, dobrej i sympatycznej, Albertyna, bezwiednie posłuszna zasadzie wielorakiego wyzyskania jednego uczynku, uważała za grzeczniejsze udać, iż przyszła jedynie z tęsknoty za tą panią, bardzo ujętą tym, że Albertyna wybrała się tak daleko z czystej przyjaźni. Widząc damę niemal wzruszoną, Albertyna czuła dla niej tym więcej sympatii. Ale oto, co się działo: Albertyna odczuwała tak żywo słodycz przyjaźni, będącej rzekomo pobudką jej przybycia, że bała się w oczach tej damy podać w wątpliwość swoje uczucia (istotnie szczerze), w razie gdyby ją poprosiła o przysługę dla przyjaciółki. Dama sądziłaby, że Albertyna przyszła dlatego (co było prawdą), ale wywnioskowałaby, że Albertyna nie czuje bezinteresownej radości z jej widoku (co było mylnie). W rezultacie Albertyna wychodziła, nie poprosiwszy o przysługę. Coś podobnego zdarza się mężczyźnie, który tak szlachetnie postąpił w stosunku do jakiejś kobiety w nadziei uzyskania jej faworów, że nie oświadcza się, aby swojej dobroci zachować znamię bezinteresowności.

W innych wypadkach nie można rzec, aby Albertyna poświęciła prawdziwy cel dla celu przygodnego i wymyślonego *ex post*; ale pierwszy był tak sprzeczny z drugim, że gdyby osoba, którą Albertyna rozczuliła, wyznając jeden cel, dowiedziała się o drugim, przyjemność jej zmieniałaby się natychmiast w najgłębszą przykrość. Dalszy ciąg opowiadania pozwoli (znacznie później) lepiej zrozumieć ten rodzaj sprzeczności. Pokażmy na przykładzie z zupełnie innej kategorii, że te sprzeczności są bardzo częste w najrozmaitszych sytuacjach. Mąż np. zainstalował kochankę w mieście, gdzie pułk jego stoi garnizorem. Żona została w Paryżu; na wpół świadoma prawdy, gryzie się, pisze do męża listy pełne zazdrości. Otóż kochance wypadło udać się na dzień do Paryża. Mąż, uproszony, aby jej towarzyszył, nie może się oprzeć prośbom kochanki i uzyskuje pozwolenie na dwadzieścia cztery godziny. Ale że jest dobry i cierpi nad tym, iż robi przykrość żonie, zjawia się u niej i powiada, wylewając kilka szczerych łez, że zaniepokojony jej smutnymi listami, zdołał się wyrwać, aby ją pocieszyć i uścisnąć. Mógł w ten sposób, za pomocą jednej podróży, dać dowód miłości i kochance, i żonie. Ale gdyby żona się dowiedziała, z jakiej przyczyny on przybył do Paryża, radość jej zmieniałaby się z pewnością w cierpienie, o ile mimo wszystko widok niewiernego nie dał jej więcej szczęścia, niż jej sprawiły bólu jego kłamstwa.

Człowiekiem najkonsekwentniej uprawiającym system wielorakich celów jest z pewnością pan de Norpois. Czasami godził się pośredniczyć między dwoma zwaśnionymi przyjaciółmi, co sprawiało, że go mieniono najuczynniejszym z ludzi. Ale nie wystarczyło mu oddać przysługę temu, który go o to prosił; drugiemu przedstawiał swoją rolę jako krok podjęty nie na prośbę pierwszego, ale w interesie tego właśnie drugiego, o czym łatwo mu było przekonać człowieka, z góry już zasuggestionowanego, że ma do czynienia z „najuczynniejszym z ludzi”. W ten sposób, grając „*sur deux tableaux*”, uprawiając to, co się nazywa w giełdowym języku asekuracją, nigdy nie wystawiał swojego wpływu na żadne ryzyko, a przysługi, jakie oddawał, nie były naruszaniem, lecz fruktyfikacją części jego kredytu. Z drugiej strony, każda usługa, wyświadczona rzekomo podwójnie,

tym bardziej pomnażała jego reputację człowieka uczynnego; i to uczynnego skutecznie, który nie trafia kulą w płot, którego każdy krok ma jakiś cel, czego dowodziła wdzięczność obu zainteresowanych. Ta dwulicowość w uczynności była — nie bez wyjątków, jak u wszelkiej ludzkiej istoty — ważną stroną charakteru pana de Norpois. I często w ministerstwie ex-ambasador posłużył się moim ojcem, człowiekiem dość naiwnym, dając do zrozumienia, że to on ojcu oddał przysługę.

Podobając się więcej, niż chciała, i nie potrzebując obwieszczać swoich sukcesów, Albertyna zachowała milczenie co do owej sceny w hotelu, którą nieładna dziewczyna roztrąbiłaby przed całym światem. Nie umiałem zresztą wytłumaczyć sobie zachowania się Albertyny podczas tej sceny. Co się tyczy hipotezy absolutnej cnoty, przerabiałem ją na różne sposoby. Hipoteza ta, którą zrazu tłumaczyłem gwałtowność, z jaką Albertyna zabroniła mi się całować i wziąć, nie była zresztą nieodzowną dla moich pojęć o jej szczerzej dobroci i uczciwości; ale była tak bardzo sprzeczna z tą, którą stworzyłem sobie pierwszego dnia, gdy ujrzałem Albertynę! Następnie tyle rozmaitych objawów, zawsze bardzo dla mnie miłych (czułość pełna pieszczoty, to znów niespokojna, czujna, zazdrosna o moją sympatię do Anny), otaczało ze wszystkich stron ów szorstki gest, jakim, aby mi się wyrwać, pociągnęła za dzwonek. Czemuż prosiła mnie, abym spędził wieczór przy jej łóżku? Po co te tkliwe aluzje? Na czym polega chęć widzenia się z przyjacielem, obawa, że może woleć inną, chęć sprawienia mu milej niespodzianki, romantyczne zapewnienie, że nikt nie będzie wiedział o tym wspólnym wieczorze, skoro mu się odmawia przyjemności tak prostej i skoro to nie jest przyjemnością dla niej? Nie mogłem mimo wszystko uwierzyć, aby cnota Albertyny sięgała aż tak daleko; zastanawiałem się w końcu, czy jej wzburzenie nie płynęło z kokieterii — na przykład z obawy, że ma jakiś niemiły zapach (czym bałaby się mnie zrazić) — lub z tchórzostwa, jeżeli na przykład, w swoim niedoświadczeniu realności miłosnych, bała się, że moja nerwowa choroba mogłaby się udzielić przez pocałunek.

Albertyna była z pewnością w rozpacz, że mi nie mogła sprawić przyjemności; dała mi złoty ołówek — przez tę cnotliwą perwersję ludzi, którzy wzruszeni naszym oddaniem, a nie godząc się nam użyć tego, czego ono żąda, chcą wszelako zrobić dla nas coś innego. Tak krytyk, którego artykuł pochlebny powieściopisarzowi, zaprasza go zamiast tego na obiad; księżna nie bierze z sobą snoba do teatru, ale posyła mu swoją łóżę na wieczór, gdy sama z niej nie korzysta. Tak bardzo ci, co robią mniej, a mogliby nie zrobić nic, czują potrzebę zrobienia czegoś. Powiedziałem Albertynie, że dając mi ten ołówek, robi mi wielką przyjemność, ale mniejszą, niż by mi zrobiła, gdyby owego wieczora w hotelu pozwoliła się pocałować.

— To byłoby dla mnie takie szczęście; co tobie to mogło szkodzić, dziwię się, żeś mi tego odmówiła.

— A mnie dziwi — odparła — że panu się to wydaje dziwne. Nie wiem doprawdy, co pan za dziewczęta mógł znać, skoro moje postępowanie pana dziwi.

— Jestem w rozpacz, że panią pogniewałam, ale nawet teraz nie mogę przyznać, abym źle postąpił. Uważam, że to są rzeczy bez znaczenia i nie rozumiem, jak kobieta, mogąc tak łatwo zrobić przyjemność, nie godzi się na to. Nie zrozum mnie fałszywie — dodałem, aby połowicznie uczynić zadość pojęciom moralnym Albertyny, przypominając sobie, jak ona i jej koleżanki potępiły przyjaciółkę aktorki Lei — nie chcę przez to powiedzieć, aby młoda panna mogła robić wszystko i aby nie istniało nic niemoralnego. I tak, na przykład, stosunki, o jakich mówiłaś kiedyś z powodu tej smarkatej, co mieszka w Balbec, między nią a pewną aktorką, to mi się wydaje ohydne, tak ohydne, iż myślę, że to jacyś wrogowie oczernili ją i że to jest nieprawda. To mi się wydaje nieprawdopodobne, niemożliwe. Ale dać się pocałować, a nawet więcej, przyjacielowi, bo sama mówisz, że jestem twoim przyjacielem...

— Jesteś, ale ja miałam innych przyjaciół przed tobą, znałam młodych ludzi, którzy, ręczę ci, mieli dla mnie tyleż przyjaźni. No i nie było ani jednego, który by się ośmielił na podobną rzecz. Wiedział, że by oberwał po papie. Zresztą oni nawet nie myśleli o tym; ściskaliśmy sobie ręce bardzo szczerze, bardzo serdecznie, jak koledzy; nigdy nie było mowy o całowaniu, a mimo to było się dobrymi kompanami. Doprawdy, jeżeli panu zależy na mojej przyjaźni, może pan być zadowolony, bo muszę pana bardzo lubić, żeby to panu przebaczyć. Ale ja jestem pewna, że pan gwizdże na mnie. Niech pan przyzna, że

to Anna się panu podoba. W gruncie ma pan rację, ona jest o wiele miłsza ode mnie, no i jest prześliczna! Och, mężczyźni!

Mimo świeżego zawodu słowa te, tak szczere, budząc we mnie wielki szacunek dla Albertyny, były mi bardzo słodkie. I może to wrażenie miało dla mnie później wielkie i oplakane następstwa, bo przez nie zaczęło się tworzyć to niemal rodzinne przywiązanie, to jądro duchowe, mające zawsze trwać w mojej miłości do Albertyny. Takie uczucie może być przyczyną największych cierpień. Bo aby naprawdę cierpieć przez kobietę, trzeba było całkowicie w nią uwierzyć. W tej chwili zarodek szacunku, przyjaźni, istniał w mojej duszy niby przyczajony. Sam przez się nie byłby w niczym groził memu szczęściu, gdyby nie rozrastając się, pozostał w bezwładzie, jaki miał zachować przez rok następny, a z tym większą racją przez te ostatnie tygodnie mego pierwszego pobytu w Balbec. Był we mnie niby jeden z owych gości, których mimo wszystko rozsądniej byłoby się pozbyć, ale których cierpi się i pozostawia w spokoju, tak dalece ich słabość i odosobnienie w obcej duszy czyni ich na razie nieszkodliwymi.

Moje marzenia mogły teraz zwracać się ku tej lub innej przyjaciółce Albertyny, przede wszystkim ku Annie, której względy mniej by mnie może wzruszały, gdyby nie pewność, że Albertyna dowie się o nich. Niewątpliwie, udane wyróżnienie, jakim od dawna darzyłem Annę, stworzyło mi — w stylu rozmowy, w tkliwych wyznaniach — niby materiał gotowej miłości do niej. Miłości tej brakło dotąd jedynie dodatku szczerzego uczucia, którego teraz serce moje, znów wolne, mogłoby dostarczyć. Ale na to, abym się mógł naprawdę zakochać w Annie, była ona zbyt intelektualna, zbyt nerwowa, chorowita, zbyt podobna do mnie. Jeżeli Albertyna zdawała mi się teraz pusta, Anna była wypełniona czymś, co znałem za dobrze. Owego pierwszego dnia, na plaży, widziałem w niej jakąś kochankę rekordzisty, upojoną szałem sportu; otóż Anna powiadała mi, że jeżeli zaczęła uprawiać sport, to na rozkaz lekarza, jako odtrutkę na swoją neurastenię i zaburzenia odżywcze, ale że najmiłsze jej godziny były te, kiedy tłumaczyła powieść George Eliot. Zawód mój, skutek pierwotnej omyłki co do charakteru Anny, nie miał w rzeczywistości dla mnie żadnego znaczenia. Ale omyłka była z tych, które, jeżeli się pozwolą narodzić miłości, a okażą się omyłką aż wówczas, kiedy miłość jest już nie do odrobienia, stają się przyczyną cierpień. Takie omyłki — a mogą być różne od tej, jaką popełniłem wobec Anny, nawet odwrotne — wynikają często — specjalnie w wypadku Anny — stąd, że ktoś przybiera zuchwale postać i wzięcie czegoś, czym nie jest, ale czym by chciał być, aby omamić w pierwszej chwili. Udanie, naśladownictwo, chęć budzenia podziwu w ludziach złych lub dobrych dodają do zewnętrznego wyglądu mistyfikację słów i gestów. Bywają cynizmy, okrucieństwa, które nie wytrzymują próby, tak samo jak pewne dobroci, pewne szlachetności. Jak często odkrywamy próżnego skąpca w człowieku znanym z dobroczynności, tak fanfaronada występku ukazuje nam Messalinę w uczciwej dziewczynie pełnej przesądów. Myślałem, że znalazłem w Annie naturę zdrową i pierwotną, gdy ona była jedynie istotą szukającą zdrowia, jak zapewne wiele osób, co do których Anna również ludziła się, że w nich znalazła zdrowie, a które w rzeczywistości miały go nie więcej niż gruby artretyk o czerwonej twarzy i w białej flanelowej kurtce, niekoniecznie będący Herkulesem. Otóż bywają okoliczności, w których nie jest obojętne dla szczęścia, że osoba, którą pokochaliśmy za to, co się w niej zdawało zdrowe, jest w istocie jednym z owych chorych stworzeń, czerpiących zdrowie jedynie od innych, jak planety pożyczają swego światła, jak pewne ciała tylko przepuszczają elektryczność.

Ale mniejsza: Anna, jak Rozamonda i Gizela, nawet bardziej od nich, była bądź co bądź przyjaciółką Albertyny, dzielącą jej życie, naśladowującą jej wzięcie, tak że pierwszego dnia nie rozróżniłem ich zrazu. Między tymi dziewczętami, gałązkami róży, których głównym urokiem było to, że się rysowały na tle morza, panowała ta sama wspólnota, co w czasie, kiedy ich nie znałem i kiedy zjawienie się jednej z nich wzruszało mnie tak mocno, zwiastując, iż cała gromadka jest niedaleko. I teraz jeszcze widok jednej sprawiał mi przyjemność, w którą — w proporcji niedającej się określić — wchodziło to, że zobaczę niebawem inne, a nawet, jeśli nie przyszły tego dnia, że mogę mówić o nich, być pewnym, że się dowiedzą o mojej bytności na plaży.

To już nie był po prostu czar owych pierwszych dni, to była prawdziwa chęć kochania, wahająca się między wszystkimi — tak bardzo każda z nich była naturalnym zastępstwem innej. Największym moim smutkiem nie byłoby być porzuconym przez tę z dziewcząt,



którą wołałem, ale byłbym natychmiast wołał tę, co mnie porzuciła, bo złożyłbym w niej całą sumę smutku i marzenia, bujającą między wszystkimi. A i wówczas oplakiwałbym nieświadomie wszystkie jej przyjaciółki, w których oczach straciłbym rychło wszelki urok, wyznawszy im ten rodzaj zbiorowej miłości, jaką polityk lub aktor żywią do tłumu, po którego zubożeniu nie mogą się pocieszyć, zaznawszy wprzód wszystkich jego faworów. A nawet tych faworów, których nie mogłem uzyskać od Albertyny, spodziewałem się nagle od którejś z nich, kiedy, rozstając się ze mną wieczór, rzuciła mi dwuznaczne spojrzenie lub słówko, dzięki czemu ku niej właśnie przez cały dzień zwracało się moje pragnienie.

Błądziło ono między nimi tym rozkoszniej, ile że na tych zmiennych twarzach prowizoryczne ustalenie rysów zaczęło się na tyle, aby można było rozróżnić — choćby się te rysy miały zmienić jeszcze — ich podatny i płynny kształt. Różnicom istniejącym między nimi nie odpowiadały z pewnością różnice w długości i szerokości rysów, pokrywających się niemal, mimo że dziewczęta zdawały się tak odmienne. Ale nasza znajomość twarzy nie jest matematyczna. Po pierwsze, nie zaczyna od mierzenia części; jej punktem wyjścia jest wyraz, całość. U Anny, na przykład, delikatna słodycz oczu zdawała się przechodzić w wąski nos, cienki niby łuk wykreślony po to, aby sprowadzić do jednej linii subtelny myśl, rozdzieloną poprzednio w podwójnym uśmiechu bliźniaczych spojrzeń. Równie delikatna linia dzieliła jej włosy, miękka i głęboka jak ta, którą wiatr żłobi w piasku. I musiała być dziedziczna; zupełnie siwe włosy matki Anny wichrzyły się w ten sam sposób, tworząc wzgórza i wklęsłości, niby śnieg, gdy się wznosi lub zapada wedle nierówności terenu. Zapewne w porównaniu z subtelnym zarysem nosa Anny, nos Rozamondy uderzał swoimi szerokimi płaszczyznami, niby wysoka wieża wsparta na mocnej podstawie. Wyraz wystarcza, aby dać wrażenie ogromnych różnic, mimo że one są nieskończenie drobne; owo „nieskończenie drobne” może samo przez się stworzyć wyraz zupełnie swoisty, indywidualność. Ale to nie znaczy, aby tylko owe nieskończenie drobne odchylenia linii wraz z oryginalnością wyrazu — czyniły te twarze czymś niedającym się sprowadzić do siebie wzajem. Między twarzami tych dziewcząt koloryt tworzył jeszcze głębszy przedział; nie tyle przez urozmaiconą piękność tonów tak sprzecznych, żem znajdował wobec Rozamondy — napojonej kolorem różowym o odcieniu siarki, który nasycalo jeszcze zielonkawę lśnienie oczu — i wobec Anny — której białym policzkom dawały tyle surowej dystynkcji czarne włosy — ten sam rodzaj przyjemności, co gdybym oglądał kolejno geranię nad brzegiem zalanego słońcem morza i kamelię w nocy; ale zwłaszcza dlatego, że nieskończenie drobne różnice linii rosły nieproporcjonalnie, stosunki powierzchni zmieniały się zupełnie od tego nowego elementu — koloru, będącego zarówno rozdawką karnacji, jak wielkim odnowicielem lub co najmniej przeobrażicielem wymiarów. Tak iż zależnie od tego, czy twarze (mało może różniące się budową) były oświetlone ogniem rudych włosów, różowej cery, czy też białym światłem matowej bledkości, wydłużały się lub poszerzały, stawały się czymś innym, jak owe akcesoria rosyjskiego baletu, polegające czasem, kiedy je oglądamy w biały dzień, na prostych krążkach papieru, które geniusz jakiegoś Baksta, wedle szkarłatnego lub księżycowego oświetlenia, w jakim zanurza dekorację, każe inkrustować się w nie twardo na kształt turkusów na fasadzie pałacu lub rozkwitać miękko niby róża bengalska w ogrodzie. Uświadamiając sobie twarze w ten sposób, mierzymy je dobrze, ale jak malarze, nie zaś jak geometry.

Z Albertyną było to samo, co z jej przyjaciółkami. W pewne dnię szczupła, o szarej cerze, chmurna, kiedy fioletowa przejrzystość wnikała skośnie w głąb jej oczu, jak się zdarza czasami z morzem, zdawała się oddychać smutkiem wygnanki. W inne dnię twarz jej, bardziej gładka, więziła pragnienia lepem swojej lakierowanej powierzchni i nie przepuszczała ich dalej; chyba żem ją ujrzał nagle z boku, bo jej policzki, matowe i woskowo-białe na powierzchni, przeświecały różowo, co budziło taką ochotę ucałowania ich, osiągnięcia tej odmiennej, wymykającej się karnacji. Innym razem szczęście kąpało jej policzki w blasku tak ruchliwym, że skóra, stawszy się płynna i mglista, przepuszczała jak gdyby podskórne spojrzenia, sprawiające, iż skóra zdawała się jakby innego koloru, ale nie z innej materii niż oczy; czasami, kiedy się po prostu patrzyło na jej twarz, usianą ciemnymi punkcikami, wśród których pływały jedynie dwie błękitniejsze plamy, to było coś jak jajko szczygłe, często jak opalizujący agat, oszlifowany i gładki tylko w dwóch miejscach, gdzie w ciemnym kamieniu błyszcząły niby przezroczyste skrzydła lazuruwego

motyla: oczy, w których skóra staje się zwierciadłem, dającym złudzenie, że pozwala nam, bardziej niż w innych punktach ciała, zbliżyć się do duszy. Ale najczęściej Albertyna była bardziej kolorowa i wówczas bardziej ożywiona; czasem na jej białej twarzy tylko koniec nosa był różowy, delikatny jak u przebiegłej młodej kotki, z którą miałoby się ochotę bawić; czasem policzki były tak gładkie, że spojrzenie ślizgało się po ich różowej emalii niby po miniaturze, którą uchylone i pokryte jej czarnymi włosami wieczko czyniło jeszcze delikatniejszą, jeszcze bardziej poufną. Zdarzało się, że cera policzków osiągnęła różowy fiolet cyklamenu; czasem nawet ciemną purpurę róż o czerwieni niemal czarnej: było to wówczas, kiedy Albertyna, zgrzana lub podniecona, pozorem chorobliwej kompleksji ściągała moje pragnienie do czegoś bardziej zmysłowego, gdy równocześnie spojrzenia jej barwiły się czymś bardziej perwersyjnym i niezdrowym. I każda z tych Albertyn była tak odmienna, jak odmienne jest każde zjawienie się tancerki, której kolory, kształt, charakter, przeobrażają się wedle bogatej gry reflektorów.

Może dlatego, że tak różne były istoty, jakie w niej oglądałem w owej epoce, przyzwyczaiłem się później stawać się sam innym człowiekiem zależnie od jednej z Albertyn, o której myślałem: zazdrosnym, obojętnym, zmysłowym, melancholijnym, wściekłym, i to nie tylko zależnie od odradzającego się wspomnienia, ale wedle siły wiary wstawionej w jedno i to samo wspomnienie, zależnie od sposobu, w jaki je oceniałem. Bo zawsze do tego trzeba było wracać: do tych wierzeń, przeważnie wypełniających duszę bez naszej wiedzy, ale mimo to ważniejszych dla naszego szczęścia niż jakaś realna istota, którą widzimy, bo to poprzez nie ją widzimy, to one wyznaczają oglądanej istocie jej chwilowe wymiary. Gdybym chciał być ścisły, powinien bym dać odmienne imię każdemu *ja*, które w następstwie myślało o Albertynie; powinien bym tym bardziej dać odmienne imię każdej z owych Albertyn, które zjawiały się przede mną, nigdy te same, jak owe *morza* — nazywane przeze mnie dla większej wygody *morzem* — które następowały po sobie i na których tle ona rysowała się na kształt nimfy. Ale zwłaszcza — tak samo (ale o wiele użyteczniej) jak w opowiadaniu określamy pogodę danego dnia — powinien bym nazwać zawsze po imieniu wierzenie, które danego dnia, kiedy widział Albertynę, władało w mojej duszy, tworząc atmosferę, wygląd ludzkich istot jak wygląd mórz, zależnie od owych ledwie widzialnych chmur, zmieniających kolor każdej rzeczy, przez swoje zagęszczenie, ruchliwość, rozmieszczenie, chyżość — niby owa chmura, którą Elstir rozdarł pewnego wieczora, nie przedstawivszy mi na drodze dziewczętom, których oddalające obrazy wydały mi się nagle piękniejsze. W kilka dni później, kiedy je poznałem, ta chmura znów się skupiła, przesłaniając ich blask, stojąc często między nimi a moimi oczami, nieprzezroczysta i łagodna, podobna Leukothei Wirgiliusza.

Bez wątpienia twarze tych wszystkich dziewcząt zmieniły dla mnie znaczenie od czasu, jak właściwy sposób odczytywania ich odsłonił mi się poniekąd z rozmowy. Słowom ich mogłem przypisywać wartość tym większą, ile że swymi pytaniami wywoływałem je do woli, zmieniałem je jak badacz sprawdzający za pomocą kontrpróby swoje domysły. I ostatecznie to jest nie gorszy od innych sposobów rozwiązania zagadki istnienia; zbliżyć się do rzeczy i osób, które nam się wydały z daleka piękne i tajemnicze na tyle, aby sobie zdać sprawę z ich braku tajemnicy i piękności. To jedna z metod higieny, między którymi można wybierać; higiena ta nie jest może zbyt godna zalecenia, ale daje pewien spokój, pozwalający nam żyć, a także — skoro pozwala niczego nie żałować, przekonywując nas, żeśmy osiągnęli najlepsze i że owo najlepsze to było niewiele — dający nam rezygnację wobec śmierci

Zastąpiłem w mózgu tych dziewcząt pogardę czystości, wspomnienie codziennych miłostek, uczciwymi zasadami, zdolnymi może zachwiać się, ale chroniącymi dotąd od wszelkiego zbłąkania istoty czerpiące owe zasady w swoim mieszczańskim środowisku. Otóż kiedy człowiek się pomylił zrazu, nawet w drobnych rzeczach, kiedy omyłka w domysłach lub we wspomnieniu każe nam szukać w fałszywym kierunku autora złośliwej plotki lub miejsca, gdzie się zgubiło jakiś przedmiot, może się zdarzyć, iż odkryjemy swój błąd jedynie po to, aby go zastąpić nie prawdą, lecz innym błędem. Wyciągnąłem — w tym, co się tyczyło sposobu życia tych dziewcząt i właściwego z nimi zachowania — wszystkie konsekwencje ze słowa „niewinność”, które rozmawiając z nimi swobodnie, wyczytałem w ich twarzy. Ale może czytając w pośpiechu, wyczytałem je niedokładnie i błędnie; może tak samo nie było tam wypisane, jak nazwisko Jules Ferry na programie

spektaklu, gdzie słyszał pierwszy raz Bermę, co mi nie przeszkodziło utrzymywać wobec pana de Norpois, że Jules Ferry, bez najmniejszej wątpliwości, pisuje jednoaktówki.

Gdy chodziło o którąś z tych dziewcząt, w jakim sposobie ostatnia jej twarz, jaką widziałem, nie byłaby w mojej pamięci jedyną? Z wspomnień naszych dotyczących danej osoby intelekt wyłącza wszystko, co się nie wiąże z bezpośrednim pożytkiem codziennych stosunków (nawet — i zwłaszcza wtedy — gdy te stosunki mieszczą trochę miłości, która, zawsze niezaspokojona, żyje najbliższą chwilą).

Intelekt pozwala uciekać łańcuchowi minionych dni, zachowuje tylko jego ostatnie ogniwo, często z zupełnie innego metalu niż owe zgubione w nocy i w podróży, jaką odbywamy przez życie; za prawdziwą uważa jedynie krainę, gdzie jesteśmy obecnie. Ale wszystkie wrażenia, już tak odległe, nie mogły znaleźć w mojej pamięci obrony przeciw ich codziennej deformacji; w ciągu długich godzin, jakie spędzałem rozmawiając, jedząc łakocie, bawiąc się z tymi dziewczętami, nie przypominałem sobie nawet, że to są te same bezlitosne i zmysłowe dziewice, którym ujrzał, niby na jakimś fresku, ciągnące nad morzem.

Geografowie, archeologowie prowadzą nas na wyspę Kalipso, odkopują pałac Minosa. Tylko że Kalipso jest już tylko kobietą, Minos tylko królem bez domieszki czegoś boskiego. Nawet przymioty i wady, które, wedle historii, były wówczas własnością tych bardzo realnych figur, różnią się często znacznie od wad i przymiotów, jakich użyliśmy bajecznym istotom, noszącym to samo imię. W ten sposób rozproszyła się cała wdzięczna mitologia oceaniczna, jaką stworzyłem w pierwszych dniach. Ale nie jest całkiem obojętne żyć bodaj czasem w pobliżu czegoś, cośmy uważali za niedostępne i czegośmy pragnęli. W obcowaniu osób, które się nam zrazu wydały niesympatyczne, trwa zawsze, nawet wśród sztucznej przyjemności, jakiej w końcu możemy przy nich kosztować, obrzask wad, jakie się im udało utaić. Ale w związkach takich, jak moje z Albertyną i jej przyjaciółkami, szczerą przyjemność będąca u początku tej przyjaźni, zostawia zapach, jakiego żadna sztuka nie da sztucznie pędzonym owocom, winogronom, co nie dojrzały w słońcu. Nadprzyrodzone istoty, jakimi były dla mnie przez chwilę, wносиły jeszcze, nawet bez mojej wiedzy, coś cudownego w moje najbanalniejsze z nimi stosunki lub raczej chroniły te stosunki od wszelkiej banalności. Moje pragnienie szukało tak chciwie znaczenia oczu, które teraz mnie znały i uśmiechały się do mnie, ale które pierwszego dnia skrzyżowały się z moimi niby promienie z innego świata; tak hojnie i tak starannie rozmieściło barwę i zapach na cielistej powłoce tych dziewcząt, gdy odpoczywając na brzegu podawały mi po prostu sandwicze lub bawiły się w zagadki! Często po południu, leżąc wyciągnięty — niby owi malarze, którzy, szukając w życiu nowoczesnym wielkości antyku, uczęszczają kobiecie obcinającej sobie paznokcie u nogi szlachetności *Wyciągającego cierni* lub którzy, jak Rubens, komponując sceny mitologiczne, robią boginie ze znajomych kobiet — patrzałem na owe ciała o typach tak rozmaitych, spoczywające dokoła mnie w trawie, nie oczyszczając ich może ze wszystkiej mierności, jaką napełniło je codzienne życie, a jednak nie przypominając sobie wyraźnie ich niebiańskiego pochodzenia, jak gdybym, podobny Herkulesowi lub Telemakowi, zabawiał się wśród nimf.

Potem skończyły się koncerty, przyszły niepogody, moje przyjaciółki opuściły Balbec, nie wszystkie naraz, jak jaskółki, ale w ciągu jednego tygodnia. Albertyna wyjechała pierwsza, nagle, tak że żadna z przyjaciółek nie mogła zrozumieć ani wówczas, ani potem, czemu ona tak prędko wróciła do Paryża, dokąd nie wzywały jej ani prace, ani rozrywki. „Nie powiedziała ani co, ani pstro, no i pojechała”, mamrotała Franciszka, pragnąca zresztą, abyśmy zrobili to samo. Uważała to za niedelikatność wobec personelu hotelowego, bardzo już uszczuplonego zresztą, ale więzionego przez nielicznych pozostałych klientów; wobec dyrektora, który „przejadał pieniądze”. Prawda, że od dawna z hotelu, który niebawem zamykano, wyjechali prawie wszyscy; nigdy też nie był równie przyjemny. Inne miał o tym zdanie dyrektor; wzdłuż salonów, gdzie się marzło i u których drzwi nie czuwał już żaden groom, przebiegał korytarze, ubrany w nowy tużurek, wyswieżony przez fryzjera tak, że jego mdła fizys robiła wrażenie mieszaniny, gdzie na jedną partię ciała wchodziły trzy partie kosmetyku; zmieniający co chwila krawat (te elegancje kosztują taniej niż palić w piecu i zatrzymać personel: niejeden, nie mogąc już ofiarować dziesięciu tysięcy na cel dobroczynny, robi jeszcze wielkiego pana, dając pięć franków na piwo pocziarowi, który mu przyniesie telegram) dyrektor nasz robił wrażenie inspektora nicości, chcącego

siłą osobistego wykwintu dać coś prowizorycznego nędzy, jaką się czuło w tym hotelu po nieszczególnym sezonie; i zjawiał się niby upiór panującego, który wraca nawiedzać ruiny tego, co niegdyś było jego pałacem. Był zwłaszcza niezadowolony, kiedy lokalna kolejka, nie mając dosyć pasażerów, przestała funkcjonować aż do przyszłej wiosny. „Czego tu braknie — mówił dyrektor — to środków komocji”. Mimo deficytu, jaki właśnie rejestrował, robił na następne lata wspaniałe projekty. Że zaś był mimo wszystko zdolny wiernie zapamiętać piękne zwroty, kiedy odnosiły się do przemysłu hotelowego i miały na celu uświetnienie tegoż, powiadał: „Nie miałem tutaj odpowiedniej współpracy, mimo że w jadalni ekipa była zadowolająca; za to «strzelcy» pozostawiali nieco do życzenia; zobacz pan na przyszły rok, jaką falangę potrafię zmobilizować”.

Na razie przerwa w funkcjonowaniu kolejki zmuszała go do posyłania po listy, a czasem odwożenia podróżnych kariolką. Prosiłem często, aby mi pozwolił się obok woźnicy, dzięki czemu mogłem robić spacer w każdą pogodę, jak w czasie zimy, którą spędziłem raz w Combray.

Czasami jednak deszcz zatrzymywał mnie z babką (kasyno było zamknięte) w pokojach prawie pustych, niby pod pokładem w porze wichru. I co dzień, jak na okręcie, jakaś nowa osoba z tych, z którymi spędziliśmy trzy miesiące, nie zaznajamiając się, prezydent z Rennes, dziekan z Caen, Amerykanka z córkami zbliżali się do nas, zagajali rozmowę, wymyślali nowe zabicie czasu, zdradzali jakieś talenty, uczyli nas jakiejś gry, zapraszali na herbatę lub na muzykowanie, zmagali się na pewną godzinę, aby kombinować wspólnie jakieś rozrywki, posiadające prawdziwy sekret przyjemności, mianowicie ten, aby nie gonić za nią, lecz po prostu pomagać zabić nudę. Słowem, zawiązywali z nami pod koniec naszego pobytu stosunki, które kolejne ich wyjazdy miały nazajutrz pozrywać. Zapoznałem się nawet z bogatym młodzieńcem, z jednym z dwóch jego szlachetnie urodzonych przyjaciół i z aktorką, która wróciła na kilka dni; ale gromadka ich składała się już tylko z trojga osób, bo drugi przyjaciel wrócił do Paryża. Prosił mnie, abym z nimi pojechał na obiad do restauracji; sądzę, iż byli dość radzi, żem odmówił. Ale zaproszenie było najuprzejmiejsze w świecie; pochodziło w rzeczywistości od bogatego młodzieńca (inne osoby były tylko jego gośćmi); ale ponieważ przyjaciel jego, margrabia Maurycy de Vaudémont, był z bardzo wielkiego domu, instynktownie aktorka, pytając, czy nie zechcę przyjść, rzekła, aby mi pochlebić:

— To by zrobiło taką przyjemność Maurycemu.

I kiedy w hallu spotkałem wszystkich troje, bogaty młodzieniec cofnął się na drugi plan, gdy pan de Vaudémont mnie zagadnął:

— Nie robi nam pan tej przyjemności, aby zjeść z nami obiad?

W sumie bardzo mało skorzystałem z Balbec, co jedynie pomnażało moją ochotę wrócenia tam. Zdawało mi się, żem bawił za krótko. Inny był pogląd moich przyjaciół, którzy pytali mnie w listach, czy zamierzam tu siedzieć wiecznie. I widząc, że oni muszą wypisywać na kopercie nazwę Balbec, gdy równocześnie moje okno, zamiast otwierać się na pole lub na ulicę, wychodzi na niwę morza; słysząc w nocy jego szum, któremu przed zaśnięciem powierzałem, niby łódź, mój sen, miałem złudzenie, że to współżycie z falami musi materialnie, bez mojej wiedzy, utrwalić we mnie poczucie ich uroku, na kształt lekcji, których uczymy się, śpiąc.

Dyrektor ofiarowywał mi na przyszły rok najlepszy apartament, ale byłem teraz związany do mojego pokoju. Wchodząc, nie czułem już zapachu „bagna”, a myśl moja, dociągająca się niegdyś tak trudno do jego wymiarów, zdjęła je w końcu tak dokładnie, że trzeba mi było poddać ją odwrotnej kuracji, kiedy wypadło mi spać w Paryżu, jak dawniej, pod niskim sufitem.

Trzeba było w istocie opuścić Balbec; zimno i wilgoć stały się zbyt przejmujące, abym mógł zostać dłużej w hotelu pozbawionym kominków i kaloryfera. Zapomniałem zresztą prawie natychmiast owych ostatnich tygodni. Myśląc o Balbec, oglądałem prawie nieodmiennie chwile, kiedy co rano, w piękną pogodę, gdy miałem po południu wyjść z Albertyną i jej przyjaciółkami, babka nakazywała mi na zlecenie lekarza leżeć przedtem po ciemku. Dyrektor wydawał rozkazy, aby nie robiono hałasu na moim piętrze i sam czuwał, by tego przestrzegano. Z powodu zbytńskiego światła, trzymałem możliwie najdłużej zasunięte fioletowe portiery, tak wrogię mi pierwszego wieczora. Ale mimo szpilek, którymi dla uszczelnienia portier Franciszka spinała je co wieczór i które ona

jedna umiała rozpinąć; mimo kółder, czerwonych kretonowych obrusów, przeróżnych materii, jakie dopasowywała, nie mogła ich spoić całkowicie, ciemność nie była zupełna, a zasłony pozwalały się rozlewać na dywanie niby szkarłatnym płatkom anemonów, i nie mogłem się wstrzymać, aby nie stanąć wśród nich na chwilę bosymi nogami. A na ścianie, częściowo oświetlonej, znajdującej się na wprost okna, złoty walec, niepodparty niczym, stał prostopadłe i przesuwał się z wolna, niby ów świetny słup poprzedzający Żydów na pustyni. Kładłem się z powrotem, zmuszony kosztować bez ruchu, jedynie przez wyobraźnię, przyjemności gry, kąpieli, spaceru — wszystkich naraz — jakie doradzał ranek; i radość kazała bić hałaśliwie memu sercu niby maszynie funkcjonującej całą parą, ale nieruchomej, która może wyładować swoją szybkość jedynie w miejscu, kręcąc się dokoła samej siebie.

Wiedziałem, że moje przyjaciółki są na promenadzie, ale nie widziałem ich, podczas gdy one szły wzdłuż nierównych pagórków morza, w którego głębi odcinało się niekiedy na niebie Rivebelle, wznoszące się pośród jego sinych wierzchołków, niby włoskie miasteczko, drobiazgowo wyrzeźbione słońcem. Nie widziałem swoich przyjaciółek, ale (podczas gdy do mojego *belvedere* dochodziły krzyki przekupniów dzienników — „dziennikarzy”, jak ich nazywała Franciszka — wołania letników i bawiących się dzieci, punktujących niby krzyki ptaków morskich szmer fal, łamiących się łagodnie) zgadywałem ich obecność, słyszałem ich śmiech, spowity jak śmiech nereid w słodki plusk dochodzący moich uszu.

— Patrzyłyśmy — mówiła mi wieczorem Albertyna — żeby zobaczyć, czy zejdziesz. Ale żaluzje były zamknięte, nawet w porze koncertu.

W istocie, o dziesiątej koncert buchał pod moimi oknami. Kiedy był przyływ, w zespół instrumentów mieszało się płynne i ciągłe chlupotanie fali, zdającej się zawijać dźwięki skrzypiec w swoje kryształowe woluty i tryskać pianą ponad przerywane echa podmorskiej muzyki. Chciałem się ubierać, niecierpliwiłem się, że mi jeszcze nie dano rzeczy. Było południe, wreszcie przybywała Franciszka. I przez szereg miesięcy w tym Balbec, którego tak pragnąłem, bom je sobie wyobrażał jedynie smagane burzą i tonące we mgłach, pogoda była tak olśniewająca i stała, że kiedy Franciszka przychodziła otworzyć okno, mogłem zawsze bez zawodu oczekiwać, iż ujrzę tę samą ścianę słońca złożoną w rogu, o niezmiennym kolorze, mniej wzruszającym jako znak lata niż martwym jako znamię nieżywej i sztucznej emalii. I podczas gdy Franciszka wyjmowała szpilki z portier, zdejmowała materie, rozsuwała firanki, odsłaniany przez nią letni dzień zdawał się równie umarły, równie odwieczny, co wspaniała i tysiącletnia mumia, którą by nasza stara służąca ostrożnie odwijała ze wszystkich gizeł, zanim ją ukaże zabalsamowaną w jej złotej szacie.

Światło, Słońce, Lato

*Strona Guermites*

*Strona Guermites*

## CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM PIERWSZY

Ranny szczebiot ptaków niecierpliwł Franciszkę. Lada odezwanie się którejś z „młodszych” podrzucało ją; podrażniona każdym ich krokiem, zadawała sobie pytanie, co one mogą robić? A wszystko stąd, żeśmy się przeprowadzili. Zapewne, na poddaszu dawnego mieszkania służba hałasowała nie mniej niż tutaj; ale Franciszka знаła wszystkich, krzątania ta stała się jej czymś przyjaznym. Teraz nawet cisza była przedmiotem jej bolesnej uwagi. Że zaś spokój nowej dzielnicy zdawał się przeciwieństwem hałaśliwego bulwaru, przy którym mieszkaliśmy dotąd, piosenka jakiegoś przechodnia — dochodząca z odłali niby motyw orkiestry — sprowadzała lzy do oczu Franciszki-wygnanki. Żartowałem z niej sobie, kiedy, zrozpaczona, że musi opuścić kamienicę, gdzie „każdy człowieka tak szanował”, pakowała rzeczy, płacząc wedle rytuału Combray i głosząc, że dom, gdzie mieszkaliśmy dotąd, miłszy był od wszystkich możebnych domów. Ale teraz, kiedy widział, iż kamienica, gdzie nieznający nas jeszcze odźwierny nie okazał Franciszce szacunku niezbędnego dla jej duchowego zdrowia, pograżyła ją w stanie bliskim uwiędu, ja, który równie łatwo przyswajałem sobie rzeczy nowe, jak porzucałem stare, zbliżyłem się do naszej starej służącej. Ona jedna mogła mnie zrozumieć; to pewne, że nie byłby do tego zdolny młody lokajczyk (osobnik niemający nic z „ducha Combray”); dla niego przeprowadzka, mieszkanie w innej dzielnicy, to było coś jak wakacje; nowość otaczających rzeczy działała nań orzeźwiająco jak podróż; miał wrażenie, że jest na wsi; katar, jakiego się nabawił, dał mu — niby „zawianie” nabyte w wagonie, gdzie się szyba nie domyka — rozkoszne uczucie, że zwiedził kawał świata; za każdym kichnięciem cieszył się, iż znalazł takie „galante miejsce”, ile że zawsze marzył o państwie, „które by dużo podróżowało”. Toteż nie zwracając na niego uwagi, podszedłem wprost do Franciszki; ale ponieważ śmiałem się z jej łez przy wyprowadzaniu się, które mi było obojętne, ona teraz okazywała się lodowata wobec mego smutku — bo go podzielała. Wraz z rzekomą wrażliwością nerwowców rośnie ich egoizm; nie mogą znieść u innych osób przejawów cierpienia, na które u siebie samych zwracają coraz więcej uwagi. Franciszka, która nie przepuściła żadnej własnej dolegliwości, odwracała głowę, kiedy ja cierpiałem; chciała mnie pozbawić tej przyjemności, że moje cierpienie spotkało się ze współczuciem, że je bodaj zauważono. Tak samo robiła, kiedy z nią chciałem mówić o nowym domu. Zresztą, zmuszona trzeciego dnia iść po jakieś rzeczy zapomniane na dawnym mieszkaniu, gdy ja w następstwie przeprowadzki miałem jeszcze „parę kresek” i podobny wężowi boa po pożarciu wołu, czułem się przykro wzdęty długim kredensem, który mój wzrok musiał „strawić”, Franciszka z kobiecą niewiernością oświadczyła za powrotem, iż myślała, że się udusi na naszym dawnym bulwarze; że idąc tam, czuła się całkiem „jak zbłąkana”; że nigdy nie widziała tak niewygodnych schodów; że nie wróciłaby tam mieszkać „ani za cysarstwo” i choćby jej — dowolna hipoteza — dawano miliony; że wszystko (to znaczy w zakresie kuchni i korytarzy) jest o wiele lepiej urządzone w naszym nowym domu.

Ale czas powiedzieć, że ten lokal mieścił się w skrzydle pałacu Guermantes — a przenieśliśmy się tam, ponieważ babka, mając się niezbyt dobrze, potrzebowała więcej powietrza. Ale tegośmy babce nie mówili.

W pewnym wieku Nazwy — nastręczając nam obraz Niepoznawalnego, któryśmy w nich pomieścili, podczas gdy równocześnie oznaczają dla nas i realne miejsce — zmuszają nas tym samym do zidentyfikowania z sobą obu tych pojęć; tak iż śpieszymy szukać w jakimś mieście duszy, której ono nie może zawierać, ale której nie mamy już mocy wygnać z jego nazwy. Dają one indywidualność nie tylko miastom i rzekom, jak to czynią alegoryczne malowidła; nie tylko pstrzą różnicami, zaludniają cudownością świat fizyczny, ale i świat socjalny; wówczas każdy zamek, każde sławne domostwo lub pałac ma swoją damę lub wróżkę, jak lasy mają swoje duchy, a wody bóstwa. Czasami, ukryta w głębi swego imienia, wróżka zmienia się wedle życia naszej wyobraźni, która ją karmi; w ten właśnie sposób atmosfera, gdzie pani de Guermantes istniała we mnie, będąc przez całe lata jedynie odbłaskiem szkiełka latarni magicznej i kościelnego witrażu, zaczynała błędnać, kiedy całkiem inne marzenia nasyciły ją pienistą wilgocią strumieni.

Jednakże wróżka ginie, kiedy się zbliżamy do rzeczywistej osoby, której odpowiada jej imię; wówczas bowiem imię zaczyna odbijać tę osobę, niezawierającą nic z wróżki; wróżka

może się odrodzić, kiedy się oddalimy od osoby; ale jeżeli znajdujemy się w jej pobliżu, wróżka umiera ostatecznie, a wraz z nią imię, jak owa rodzina de Lusignan, mająca wygasnąć w dniu, w którym znikłaby wróżka Meluzyna<sup>58</sup>. Wówczas nazwisko, w którym pod kolejnymi warstwami przemalowań moglibyśmy w końcu odkryć piękny portret obcej kobiety, której nie znaleźliśmy nigdy, jest już tylko prostą fotografią z paszportu, do której sięgamy myślą, aby sprawdzić, czy mamy się ukłonić przechodzącej osobie. Ale niech wrażenie sprzed lat — niby owe płyty muzyczne, zachowujące ton i styl rozmaitych artystów — pozwoli naszej pamięci usłyszeć to nazwisko wraz z osobliwym dźwiękiem, jaki miało wówczas dla naszego ucha, to nazwisko na pozór niezmienione — a uczujemy odległość dzielącą od siebie rojenia zawarte dla nas kolejno w jego identycznych zgłoskach. Z usłyszanego znów świergotu, jakim brzmiało to nazwisko którejś dawnej wiosny, możemy na chwilę wycisnąć — niby z tubek z farbami — dokładny, zapomniany, tajemniczy i świeży odcień owych dni; ludziliśmy się natomiast, że je sobie przypominamy, kiedy, jak lichy malarz, dawaliśmy całej naszej przeszłości, pomieszczonej na tym samym płótnie konwencjonalne i jednakie tony świadomej pamięci. Otóż, przeciwnie, każda z chwil składających przeszłość używała dla swojej oryginalnej kreacji, w swojej jedynej harmonii, ówczesnych farb, których już nie znamy i które na przykład czarują mnie jeszcze nagle, jeżeli dzięki jakiemuś przypadkowi nazwisko „Guermantes”, odzyskawszy na chwilę po tylu latach dźwięk — tak różny od dzisiejszego — jaki miało dla mnie w dniu ślubu panny Percepied, odda mi ów kolor lila, tak słodki, zbyt błyszczący, zbyt nowy, jakim aksamitniał suty fontaż<sup>59</sup> młodej księżnej, oraz oczy rozslonecznione błękitnym uśmiechem niby świeżo zakwitły a niedosiężny barwinek. Ówczesne nazwisko „Guermantes” jest także niby dziecinny balonik, napęczniony tlenem lub innym gazem; kiedy go zdołam przebić, uwolnić jego zawartość, oddycham powietrzem Combray z owego roku, z owego dnia — powietrzem zmieszonym z zapachem głogów niesionym przez wiatr. Wiatr ten, zwiastun deszczu, to spędzał słońce, to pozwalał mi się kłaść na czerwonym kobiercu w zakrystii, strojąc go w błyszczące, niemal różowe tony geranii, oraz w tę, aby tak rzec, wagnerowską<sup>60</sup> radosną słodycz, zachowującą w swojej odświętności coś tak szlachetnego. Ale nawet poza tymi rzadkimi minutami, kiedy nagle czujemy, jak pierwotna istność drży i odzyskuje swój kształt i rysunek w łonie umarłych dziś sylab, o ile w zawrotnym wirze bieżącego życia, w którym nazwiska mają zastosowanie już wyłącznie praktyczne, straciły one wszelki kolor, jak wielobarwny bąk, który kręcąc się zbyt szybko, wydaje się szary, w zamian za to, kiedy w chwilach zadumy zastanawiamy się nad tym, staramy się — wracając w przeszłość zwolnić, zahamować ciągły ruch, który nas porywa. I wówczas widzimy znów stopniowo sąsiadujące z sobą, ale zupełnie odrębne od siebie wzajem, różne barwy, jakie w ciągu naszego istnienia przybierało dla nas kolejno to samo nazwisko.

Bez wątpienia, nie wiem, co za kształt łączył się dla moich oczu z nazwiskiem „Guermantes”, kiedy piastunka — nie wiedząc z pewnością, jak i ja dzisiaj, ku czyjej czci tę piosnkę ułożono — kołysała mnie starą melodią: *Chwała margrabinie de Guermantes*; lub kiedy w kilka lat później stary marszałek de Guermantes, przejmując dumą moją bonę, zatrzymywał się na Polach Elizejskich<sup>61</sup>, powiadając: „Ładne dziecko!”, i wyjmował z małej bombonierki czekoladową pastylkę. Te lata pierwszego dzieciństwa nie są już we mnie, są poza mną; jeżeli mogę o nich coś wiedzieć, to chyba z opowiadań starszych, jak o tym, co się działo przed naszym urodzeniem. Ale później w trwaniu we mnie tego nazwiska odnajduję kolejno siedem czy osiem różnych twarzy; pierwsze były najładniejsze; stopniowo moje marzenie, zmuszone przez rzeczywistość do opuszczenia straconej pozycji, cofało się znów trochę wstecz, zanim mu trzeba było cofnąć się jeszcze. I równocześnie z panią de Guermantes zmieniała się jej siedziba, poczęta również z tego nazwiska, zapładnianego z roku na rok jakimś zasłyszonym słowem odnawiającym moje marzenia, siedziba ta odbijała owe marzenia w samych swoich kamieniach, nabierających

<sup>58</sup>Meluzyna — postać z podań i legend francuskich, kobieta z węzowym lub rybim ogonem, czarodziejka; miał od niej pochodzić potężny średniowieczny ród Lusignan, z którego pochodzili królowie Jerozolimy i Cypru, wygasły w XV w. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>fontaż — ozdoba fryzury kobiecej z koronek i wstążek upiętych wysoko nad czołem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>wagnerowski — taki jak u Richarda Wagnera (1813–1883), niemieckiego kompozytora. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>Polu Elizejskie — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle’a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

własności zwierciadła, niby powierzchnia chmury lub jeziora. Bezcielesna baszta, która była jedynie smugą pomarańczowego światła, a z której wyżyn pan zamku oraz jego małżonka rozstrzygali o życiu i śmierci wasalów, ustąpiła miejsca — na samym krańcu owej „strony Guermantes”, gdzie tyle razy w piękne popołudnie szedłem wraz z rodzicami brzegiem Vivonne — ustąpiła miejsca okolicy obfitej w strumienie, gdzie księżna uczyła mnie łowić pstrągi i poznawać kwiaty o fioletowych i czerwonych kiściach, strojące niskie mury dookólnych zagród; potem były to dziedziczne dobra, poetyczna rezydencja, gdzie dumna rasa Guermantów, niby pozołkła i zdobna kwiatami wieża, która przetrwała wieki, wznosiła się już nad Francją, wówczas gdy niebo było jeszcze puste, tam gdzie miały się później wzniesić Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres<sup>62</sup>, wówczas kiedy na szczycie wzgórza Laon nawa katedry nie osiadła niby arka potopu na szczycie góry Ararat, pełna Patriarchów i Sprawiedliwych, trwożnie wychylających się z okien dla sprawdzenia, czy gniew boży się uśmierzył, niosąca z sobą odmiany roślin mających się rozmnożyć na ziemi, kipiąca zwierzętami wydzierającymi się nawet przez wieże, skąd woły, przechadzające się spokojnie na dachu, patrzą z góry na równiny Szampanii; wówczas kiedy podróżny opuszczający o schyłku dnia Beauvais nie widział jeszcze na zakręcie idących za nim czarnych i rozgałęzionych skrzydeł katedry, rozwiniętych na złotym ekranie zachodu.

Było owo Guermantes niby tło romansu, urojony krajobraz, który z trudem sobie mogłem wyobrazić, a który tym żarliwiej pragnąłem odkryć, wciśnięte między rzeczywiste ziemie i drogi; naraz, o dwie mile od dworca, jak gdyby nasycone właściwościami heraldycznymi; przypominałem sobie nazwy sąsiednich miejscowości, tak jakby się znajdowały u stóp Parnasu lub Helikonu<sup>63</sup>; i zdawały mi się one czymś szacownym jako materialne i topograficzne warunki ziszczenia się tajemniczego zjawiska. Oglądałem znów na ścianie pod witrażami w Combray malowane herby, których tarcze wypełniały się z wieku na wiek wszystkimi dziedzictwami, jakie w drodze małżeństwa lub kupna ten znamienity dom ściągnął ku sobie ze wszystkich kątów Niemiec, Włoch i Francji; olbrzymie ziemie Północy, potężne grody Południa łączące się i składające się na Guermantes i z zaturą swojej materialności wypisujące alegorycznie swoje zielone baszty lub srebrne zamki na lazurowym polu. Słyszałem o sławnych kobiercach w Guermantes i widziałem je, średniowieczne i błękitne, nieco grube, odcinające się na kształt chmury na amarantowym i legendarnym nazwisku, u stóp starożytnego lasu, gdzie tak często polował Childebert<sup>64</sup>; i miałem uczucie, że oszczędzając sobie podróży, wnikałbym w tajemnice owej ziemi, w ową dal wieków, zbliżając się na chwilę w Paryżu do pani de Guermantes, kasztelanki zamku i pani jeziora, tak jakby jej twarz i jej słowa mogły posiadać swoisty czar gąszczów i strumieni oraz te same wiekowe właściwości co stary kodeks jej archiwów. Ale wówczas poznałem Roberta de Saint-Loup; powiedział mi, że zamek nosi nazwę Guermantes dopiero od XVIII wieku, kiedy jego rodzina go nabyła. Do tej pory rodzina Guermantes rezydowała w sąsiedztwie, a tytuł jej nie pochodzi z tych stron. Miasteczko Guermantes otrzymało swoją nazwę od zamku, który jest od niego wcześniejszy; aby nie zniszczyć perspektyw zamku, dotąd utrzymany w mocy serwitut<sup>65</sup> normuje plan ulic oraz wysokość domów. Co się tyczy kobierców, były kompozycji Bouchera<sup>66</sup>, kupione w XIX wieku przez jednego z Guermantów, malarza-amatora, i pomieszczone obok miernych obrazów myśliwskich jego własnej roboty, w bardzo brzydkim salonie obitym andrynoplem<sup>67</sup> i pluszem. Przez te rewelacje Saint-Loup wprowadził w zamek składniki obce nazwisku „Guermantes”, co mi nie pozwoliło nadal wyczarowywać jego architektoniki z samej dźwięczności sylab. Wówczas w głębi tego nazwiska zatarł się zamek odbijający się w jeziorze; zjawiał mi się natomiast, dokoła pani de Guermantes, jako jej siedziba, pałac

<sup>62</sup>*Notre Dame de Paris i Notre-Dame de Chartres* — najwspanialsze gotyckie katedry we Francji, obie pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, w Paryżu i w Chartres. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*Parnas i Helikon* — góry w Grecji, wg mit. gr. siedziby Muz, opiekunek sztuk. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Childebert* — władca Franków z dynastii Merowingów: Childebert I (496–558) lub jego następcą Childebert II (570–596). [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*serwitut* — prawo do korzystania z cudzej nieruchomości w określonym zakresie. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>*andrynopł* (neol. z fr. *andrinople*) — tania tkanina bawełniana, zwykle w kolorze ciemnoczerwonym; od francuskiej nazwy koloru: czerwień adrianopolska. [przypis edytorski]



jej w Paryżu — pałac Guermantes — przejrzysty jak jego nazwa, żaden bowiem materiałny i ciemny składnik nie mącił i nie ćmił jego przejrzystości. Jak „kościół” oznacza nie tylko świątynię, lecz i zebranie wiernych, tak ten pałac Guermantes obejmował wszystkie osoby biorące udział w życiu księżnej; ale te osoby, których nigdy nie widziałem na oczy, były dla mnie jedynie sławnymi i poetycznymi nazwiskami; te znowuż istoty, znając wyłącznie osoby będące również tylko nazwiskami, pomnażały jeszcze i chroniły tajemnicę księżnej, tworząc dokoła niej szeroką otęczę<sup>68</sup>, która co najwyżej stopniowo bladła.

Na przyjęciach, jakie wydawała księżna, w wyobraźni mojej nikt z gości nie miał ciała ani wąsów, ani trzewików; nie padło tam najmniejsze słowo banalne, lub nawet oryginalne, ale w ludzki i racjonalny sposób; ten wir nazwisk, wnoszący mniej materii, niżby to zrobiła uczta duchów lub bal upiórów dokoła statuetki z saskiej porcelany, jaką była pani de Guermantes, dawał jej szklanemu pałacowi przejrzystość witraży. Później, kiedy Saint-Loup opowiedział mi anegdoty dotyczące kapelana lub ogrodników swojej kuzynki, pałac Guermantes stał się, jak niegdyś mógł być jakiś Luwr — rodzajem zamku otoczonego, w sercu Paryża, przynależnymi doń ziemiami, posiadanego dziedzicznie, na mocy starożytnego dziwacznego przetrwałego prawa, gdzie księżna zachowała jeszcze feudalne przywileje. Ale ta ostatnia siedziba sama z siebie rozwiała się w mgłę, kiedyśmy zajęli tuż obok pani de Villeparisis mieszkanie sąsiadujące z apartamentami pani de Guermantes, w skrzydle jej pałacu.

Była to jedna z owych starych siedzib, istniejących może jeszcze tu i ówdzie, gdzie dziedziniec — *cour d'honneur* — bądź pod wpływem wzbierającej fali demokracji, bądź przez puściznę dawniejszych jeszcze czasów, gdy rozmaite rzemiosła grupowały się koło „pana” — zawierał często sklepy, warsztaty, nawet jakiś kramik szewca lub krawca (podobne tym, które się widuje wsparte o boki katedr, o ile ich nie pousuwał estetyzm architektów), jakiegoś odźwiernego, a zarazem szewca, który hodował kury i uprawiał kwiaty; w głębi zaś, w samym „pałacu”, „panią hrabinę”, która kiedy wyjeżdżała starą dwukonną kolasą (mając przy kapeluszu parę nasturcji, robiących wrażenie, że je uszczknęto z ogródka odźwiernego, przy czym obok woźnicy siedział lokaj, schodzący z kozła, aby składać zagięty bilet<sup>69</sup> w każdym arystokratycznym pałacu w dzielnicy), przesyłała bez różnicy uśmiechy i pozdrowienia dzieciom odźwiernego i przechodzącym właśnie mieszczańskim lokatorom domostwa, w swojej wzgardliwej grzeczności i niwelującej dumie.

W domu, do któregośmy się sprowadzili, wielką damą z pałacu w głębi była księżna, elegancka i jeszcze młoda. Była to pani de Guermantes, dzięki Franciszce zaś posiadam dość szybko informacje o pałacu. Bo Guermantowie (których Franciszka określała często słowami „ci z dołu”, „dół”) byli przedmiotem jej ciągłego zainteresowania od samego rana, kiedy, czesząc mamę, z zabronionym, nieodpartym i ukradkowym spojrzeniem w dziedziniec, powiadała: „O, dwie zakonnice; pewnikiem idzie to na dół”, albo: „O, piękne bażanty w oknie w kuchni; nie trza ani pytać, skąd się pochodzą, książe musiał być na polowaniu”, aż do wieczora, kiedy, podając mi przybory nocne, z zasłyszanego dźwięku fortepianu, z echa jakiejś piosenki Franciszka wносиła: „Mają gości na dole, wesoło im”. I wówczas na jej regularnej twarzy, pod włosami obecnie białymi, uśmiech młodości, ożywiony i godny, mieścił na chwilę każdy z jej rysów na swoim miejscu, zestrajał je w kunsztownym i tradycyjnym porządku, niby przed kontredansem.

Ale chwilą życia Guermantów, która najżywiej podniecała ciekawość Franciszki, która jej sprawiała najwięcej przyjemności, a także najwięcej bólu, był moment, gdy brama wjazdowa otwierała się na oścież, a księżna wsiadała do karety. Było to zazwyczaj wkrótce po momencie, gdy nasza służba skończyła celebrować ową uroczystą paschę<sup>70</sup>, której nikt nie ma prawa przerwać, nazwaną ich śniadaniem, podczas której byli tak dalece „tabu”, że nawet ojciec nie pozwoliłby sobie zadzwonić na nich, wiedząc zresztą, że nikt nie ruszyłby się, równie dobrze za piątym dzwonkiem, jak za pierwszym, i że tym samym pan domu

<sup>68</sup>otęcza (rzad.) — aureola; tęczowa obwódka. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>bilet — tu: bilet wizytowy, wizytówka; obowiązkiem kobiety z wyższych sfer było regularne składanie wizyt towarzyskich, zapowiadanych odpowiednio wcześniej przekazaniem wizytówki przez służbę; w XIX w. zagięciem odpowiedniego rogu wizytówki sygnalizowano cel wizyty, np. rozmowę towarzyską lub złożenie gratulacji. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>Pascha — najważniejsze święto w judaizmie, upamiętniające wyzwolenie Izraelitów z niewoli egipskiej; jego główną częścią jest domowa wieczerza w gronie rodziny. [przypis edytorski]

dopuszczyłby się tego nietaktu nadaremnie, ale nie bez szkody dla siebie. Bo Franciszka (która, od czasu jak się posunęła w latach, komponowała sobie na każdą okazję okolicznościową maskę) ukazywałaby mu niechybnie przez cały dzień twarz pokrytą wypukłymi i czerwonymi cętkami, które wyrażały na zewnątrz — w sposób zresztą niezbyt czytelny — długi rachunek jej żalów oraz głębokie przyczyny niezadowolenia. Rozwijala je zresztą — niby aktor mówiący „na stronie” — ale tak, żeśmy nie mogli rozróżnić słów. To były — jak mówiła — jej „ciche msze”, odmawiane przez cały boży dzień; w jej pojęciu dotkliwe dla nas i upokarzające.

Dopełniwszy ostatnich obrzędów, Franciszka, która była równocześnie — niby w pierwotnym kościele — celebrantem i jednym z wiernych, nalewała sobie ostatnią szklanekę wina, odwiązywała serwetę, składała ją, wycierając z ust resztę wina z wodą i kawy, wsuwała serwetę w krążek, dziękowała z bolesnym spojrzeniem „swemu” młodemu lokajczykowi, który przez gorliwość mówił: „Pani Franciszko, jeszcze trochę winogron, śmienite są”, i szła natychmiast otworzyć okno pod pozorem, że jest strasznie gorąco „w tej przeklętej kuchni”. Otwierając okno i wciągając łyk powietrza, zręcznie ogarniała obojętnym niby to rzutem oka dziedziniec, zyskiwała ukradkową pewność, że księżna jeszcze jest niegotowa, śmieciła chwilę wzgardliwym i namiętym spojrzeniem zaprzężony powóz i poświęciwszy tę chwilę uwagi rzeczom ziemskim, wznosiła oczy do nieba, którego czystość odgadła zawczasu z łagodnego powiewu i z ciepła słońca; po czym spoglądała na miejsce pod dachem, gdzie każdej wiosny stały sobie gniazdo, właśnie nad moim kominkiem, gołębie podobne do tych, które gruchały w jej kuchni, w Combray.

— Och! Combray, Combray! — wykrzykiwała. (A niemal śpiewny ton, jakim wygłaszała tę inwokację, zarówno jak arlejańska czystość jej rysów, mogły zbudzić przypuszczenie, że Franciszka pochodzi z południa i że stracona ojczyzna, którą oplakuje, była tylko ojczyzną przybraną. Ale może by to była omyłka, bo zdaje się, iż nie ma prowincji, która by nie miała swojego „południa”; iluz spotyka się Sabaudczyków i Bretończyków, u których odnajdziemy znamienne dla południowców słodkie przemieszczenia długich i krótkich sylab). — Och, Combray, kiedyż ja cię zobaczę, biedna ty moja ziemo! Kiedyż będę mogła spędzać cały boży dzień pod twoimi głogami i bzami, słuchając szpaków i naszej Vivonne, szemrzącej tak, jakby ktoś szeptał, zamiast słyszeć ten przeklęty dzwonek naszego panicza, który nie wytrzyma ani pół godziny, żeby nie kazać człowiekowi gonić bez ten diabelski korytarz. I jeszcze uważa, że ja nie lecę dość szybko; trzeba, żeby człowiek słyszał, zanim on zadzwoni, a kiedy się o minutkę spóźnisz, on „popada się” w takie straszliwe furie! Ach, biedne Combray, może cię nie ujrzę aż martwa, kiedy mnie rzucą jak ten kamień w dół cementarny. Wówczas nie będą mi już pachniały twoje piękne głogi, całe bielusię. Ale za to we śmiertelnym śnie, myślę, że jeszcze będę słyszała te trzy dzwonki, które mnie tak trapiły w życiu.

Ale przerywały jej wołania krawczyny z dziedzińca — tego samego, który niegdyś tak się spodobał babce w czasie jej wizyty u pani de Villeparisis i który nie mniej łaski znalazł w oczach Franciszki. Podniósłszy głowę na odgłos otwieranego u nas okna, starał się już od dobrej chwili ściągnąć uwagę swojej sąsiadki, aby jej powiedzieć dzień dobry. Zalotność młodej dziewczyny, którą była niegdyś Franciszka, łagodziła wówczas dla pana Jupien opryskliwą twarz naszej starej kucharki, zgrubiała od wieku, złych humorów i gorąca blachy; z uroczą mieszaniną taktu, poufalości i zawstydzenia Franciszka przesyłała krawcowi miły ukłon, ale bez słów, o ile bowiem gwałciła zakazy mamy, wyglądając na dziedziniec, nie ośmieliłaby się urągać im do tego stopnia, aby rozmawiać przez okno, co miało (wedle niej) dar ściągnięcia na nią ze strony pani całego kazania. Pokazywała mu zaprzężony powóz, jakby mówiła: „Ładne koniczki, he!”, ale mrucząc: „Co za stary gruchot!”, czyniąc to zwłaszcza dlatego, że wiedziała, iż on jej odpowie, przykładając rękę do ust, aby być słyszany, mimo że mówił półgłosem: „Wy byście też mogli mieć to wszystko, gdybyście chcieli, a może więcej od nich, ale wy nie lubicie tego”.

I Franciszka po skromnym, wymijającym i uszczęśliwionym geście, którego sens był mniej więcej taki: „Každy ma to, czego pragnie; my tu jesteśmy skromne ludzie”, zamykała okno z obawy, aby mama nie weszła. Owi „wy”, którzy by mogli mieć więcej koni od Guermantów, to byliśmy *my*; ale Jupien miał rację, mówiąc „wy”, bo z wyjątkiem pewnych rozkoszy miłości własnej czysto osobistych — na przykład kiedy Franciszka kaszlała bez przerwy, a cały dom się bał, że dostanie od niej kataru, ona twierdziła z drażniącym

uśmiezkim, że nie jest zakatarzona — Franciszka, podobna owym roślinom, dla których zespolone z nimi zwierzę przygotowuje pokarmy, łowiąc je, spożywając i trawiąc dla nich, i podsuwając im je w doskonale przyswojonej formie, Franciszka żyła z nami w symbiozie; to my, naszymi zaletami, majątkiem, sposobem życia, pozycją mieliśmy za zadanie dostarczać drobnych satysfakcji miłości własnej, które tworzyły — skoro do tego dodać uświęcony obrządek śniadania wedle starożytnej formy plus mały łyżek powietrza przy oknie po śniadaniu, trochę wałęsania się po ulicy, „za sprawunkami” oraz wychodne co niedziela dla odwiedzenia siostrzenicy — cząstkę zadowolenia nieodzowną jej do życia. Toteż zrozumiałe jest, że w nowym domu, gdzie wszystkie zaszczytne tytuły mego ojca nie były jeszcze znane, Franciszka musiała usychać przez pierwsze dni, będąc pastwą choroby, którą ona sama nazywała nudą; nudą w dramatycznym znaczeniu, jakie to słowo przybiera u Corneille’a<sup>71</sup> lub pod piórem żołnierzy, nieraz odbierających sobie w końcu życie, bo im się zanadto „przykrzy” za narzeczoną, za ich wsią. Nudę Franciszki uleczył bardzo szybko właśnie Jupien, dostarczył jej bowiem przyjemności równie żywej, a bardziej wyrafinowanej niż ta, którą by odczuwała, gdybyśmy się zdecydowali mieć powóz. „Dobrzy ludziska ci Jupienowie — mówiła — poczciwe ludzie, mają to wypisane na twarzy”. Jupien umiał w istocie zrozumieć i udzielić wszystkim tej wiadomości, że jeżeli my nie mamy powozu, to dlatego że nie chcemy.

Ten przyjaciel Franciszki mało przebywał w domu, uzyskawszy posadkę w ministerstwie. Zrazu, trudniąc się szyciem kamizelek razem ze „smarkatą” (którą babka wzięła za jego córkę), stracił wszelką rację wykonywania tego fachu, odkąd ta dziewczyna (która, niemal jeszcze dzieckiem<sup>72</sup>, umiała bardzo dobrze zaszyć spódnicę, wówczas gdy babka wybrała się swego czasu z wizytą do pani de Villeparisis) wzięła się do krawieczyzny damskiej i wyspecjalizowała się w spódnicach. Najpierw „podręczna” u krawcowej, używana do tego, aby coś sfastrygować, przyszyć falbanę, przymocować guzik, zatrząsk, dopasować stanik agrafkami, została bardzo szybko „drugą panną”, potem pierwszą i wyrobiwszy sobie klientelę dam z najlepszego świata, pracowała u siebie, to znaczy w naszym dziedzińcu, najczęściej z paroma koleżankami z pracowni, przyjętymi jako uczennice. Odtąd obecność Jupiena stała się mniej potrzebna. Bez wątpienia „mała”, wyrósłszy na dużą, musiała jeszcze często szyc kamizelki. Ale wspomagana przez swoje przyjaciółki, nie potrzebowała nikogo. Toteż Jupien, jej wuj, postarał się o posadę. Zrazu mógł wracać w południe; potem, objąwszy na stałe funkcje urzędnika, któremu tylko wprzód pomagał, wracał dopiero na obiad. Jego „stabilizacja” nastąpiła szczęśliwie dopiero w kilka tygodni po naszym wprowadzeniu się, tak iż uprzejmość Jupiena mogła się objawiać na tyle, aby pomóc Franciszce przebyć bez zbytnich cierpień pierwszy trudny okres. Zresztą, nie zaprzeczając użyteczności, jaką Jupien był dla Franciszki jako „lekarstwo przejściowe”, muszę przyznać, że on mi się nie bardzo podobał z pierwszego wejrzenia. Na odległość kilku kroków, niewzruszając całkowicie wrażenie, jakie robiłyby bez tego, jego szerokie policzki i kwitnąca cera, oczy jego zwilżone współczuciem, żalonym i marzącym spojrzeniem, kazały przypuszczać, że on jest bardzo chory lub dotknięty świeżą żalobą. Nie tylko tak nie było, ale z chwilą gdy przemówił — mówił zresztą bardzo dobrze — był raczej zimny i drwiący. Z tego rozdzwiewku między jego spojrzeniem a słowami wynikało coś fałszywego, niesympatycznego; robił wrażenie, że on sam się czuje skrępowany, niby gość zjawiający się w marynarce, gdy wszyscy są we frakach, lub ktoś, kto rozmawiając z księżką wysokością, nie wie dobrze, jak ją tytułować, i aby obejść trudności, sprowadza rozmowę do nieznaczących frazesów.

Wysłowienie Jupiena — bo to jest tylko porównanie — było, przeciwnie, urocze. Pod tym kontrastem jego twarzy i oczu (na co się już nie zwracało uwagi, kiedy się go znało) odkryłem w nim rychło rzadką inteligencję. Była to jedna z najbardziej literackich natur, jakie mi się zdarzyło spotkać; w tym sensie, że nie otrzymawszy zapewne wykształcenia, Jupien posiadał lub przyswoił sobie, jedynie za pomocą paru pobieżnie przeczytanych książek, najszcześniejsze formy języka. Ludzie najbogaciej obdarzeni wśród tych, których znałem, umarli bardzo młodo. Toteż byłem przeświadczony, że Jupien nie pożyje długo.

<sup>71</sup> *Corneille, Pierre* (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

<sup>72</sup> *dzieckiem* — tu: będąc dzieckiem, jako dziecko. [przypis edytorski]

Był dobry, miłosierny, pełen delikatnych i szlachetnych uczuć. Rychło zresztą przestał być nieodzowny w życiu Franciszki. Nauczyła się go zastępować.

Nawet kiedy jakiś chłopiec z magazynu lub służący przyniósł do nas paczkę, Franciszka, udając, że się nim nie zajmuje, wskazując mu tylko od niechcienia krzesło, podczas gdy dalej parała się swoją robotą, tak zręcznie wyzyskiwała kilka chwil, które obcy spędzał w kuchni, czekając na odpowiedź mamy, iż rzadko zdarzało się, aby odszedł, nie wyrwyszy w sobie głęboko pewności, „że jeżeli nie mamy (powozu i koni), to dlatego że nie chcemy”. Jeżeli jej zresztą tak zależało na tym, żeby wiedziano, że my mamy „pieniędzy” (Franciszka nie rozróżniała odcieni składni i mówiła „mieć pieniędzy”), żeby wiedziano, że jesteśmy bogaci, to nie dlatego, aby bogactwo samo w sobie, bogactwo bez cnoty było w oczach Franciszki najwyższym dobrem; ale cnota bez bogactwa również nie była jej ideałem. Bogactwo było dla niej jakby koniecznym warunkiem cnoty, w braku którego cnota jest bez zasługi i bez uroku. Tak mało oddzielała je od siebie, że w końcu zaczęła jednej z tych rzeczy używać przymiotów drugiej, wymagając pewnego komfortu w cnotcie, a widząc coś budującego w bogactwie.

Zamknąwszy okno dosyć szybko — inaczej mama, jak Franciszka twierdziła, „nawymyślałaby jej od ostatnich” — Franciszka zaczynała, wzdychając, porządkować stół kuchenny.

— Są Guermanty, które siedzą przy ulicy la Chaise — mówił lokaj — miałem przyjaciela, który tam pracował, był u nich za drugiego stangreta. I znam kogoś, nie tego kolegę, ale jego szwagra, kto służył w wojsku razem z dojeżdźczem<sup>73</sup> barona de Guermantes. Ale co mi tam, to nie są ludzie z prawdziwego zdarzenia — dodał lokaj, który, jak nucił modne refreny, tak miał zwyczaj ozdabiać rozmowę sezonowymi dowcipami.

Franciszka, której stare i zmęczone oczy widziały wszystko niby z Combray, w mgli-  
stej dali, rozumiała nie żart kryjący się w tych słowach, ale to, że musiał w nich być żart, bo nie tłumaczyły się same i były specjalnie zaakcentowane przez człowieka, o którym wiedziała, że jest żartowniś. Toteż uśmiechnęła się życzliwie i z uznaniem, jakby mówiła: „Zawsze wesół ten Wiktor!”. Była zresztą rada, bo wiedziała, że słuchanie tego rodzaju żarcików ma odległy związek z godziwymi uciechami światowymi, na które ludzie wszystkich sfer stroją się odświętnie i narażają się na zaziębienie. Sympatyzowała zresztą z młodym lokajem, bo wciąż prawil jej z oburzeniem o straszliwych dekretach, jakie Republika ma wydać przeciw księżom. Franciszka nie pojęła jeszcze, że nasi najokrutniejsi wrogowie to nie ci, co nam przeczają i starają się nas przekonać, ale ci co powiększają lub wymyślają nowiny zdolne nas zasmucić, strzegąc się dać im pozór usprawiedliwienia, które by zmniejszyło naszą zgryzotę i wzbudziłoby w nas może nieco szacunku dla obozu, który oni siłą się nam pokazać, ku naszej tym większej udręce, jako okrutny i triumfujący zarazem.

Wróg

— Księżna musi być skrewniona z tym wszystkim — rzekła Franciszka, wracając do Guermantów z ulicy la Chaise, tak jak się zaczyna na nowo jakiś utwór od *andante*<sup>74</sup>. — Nie wiem już kto mi powiedział, że to stamtąd wydali kuzynkę za księcia z dołu. Zawszeć to ta sama paranteza<sup>75</sup>. Ho! ho! to wielka rodzina te Guermanty! — dodawała z szacunkiem, opierając wielkość tej rodziny zarazem na liczbie jej członków i na ich świetności, jak Pascal<sup>76</sup> opiera prawdę religii na rozumie i na powadze Pisma. Bo, mając tylko jedno słowo „wielki” na obie te rzeczy, Franciszka sądziła, że one tworzą tylko jedną, ile że słownik jej, jak niektóre drogie kamienie, przedstawiał w tym miejscu defekt zaciemniający już samą myśl Franciszki.

— Myślę sobie, czy to nie są ci sami, co mają zamek w Guermantes o dziesięć mil od Combray; w takim razie to musi być też krewny ich kuzynki z Algieru. (Zastanawialiśmy się długo z matką, co to może być ta kuzynka z Algieru; ale zrozumieliśmy wreszcie, że Franciszka rozumie pod Algierem miasto Angers. Coś, co jest dalekie, może być nam

<sup>73</sup>dojeżdźczacz (daw.) — członek służby łowieckiej, osoba ścigająca z chartami i ogarami zwierzynę podczas polowania. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>andante (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>paranteza (znieksz.) — parantela: powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Pascal, Blaise (1623–1662) — francuski matematyk, fizyk i filozof religii; po 1654 porzucił nauki ścisłe na rzecz filozofii i teologii. [przypis edytorski]

bardziej znane niż coś, co jest bliskie. Franciszka, która знаła nazwę Algieru z powodu okropnych daktyli, które dostawialiśmy na Nowy Rok, nie znała nazwy Angers. Język jej, jak sam język francuski, zwłaszcza toponimia<sup>77</sup>, roił się od błędów). Chciałam o tym pogwarzyć z ich kamerdynerem. Jakże to jemu się mówi? — przerwała, jak gdyby stawiając sobie kwestię protokolarną — a, prawda, Dominik go tytułują (tak jakby Dominik był tytułem). On mógłby mi powiedzieć, ale to cały wielki pan, nadęta sztuka, myślałby kto, że mu ucięto język albo że go nie nauczono mówić. Nawet człowiekowi nie odkaże<sup>78</sup>, kiedy do niego gadać — dodała Franciszka, która mówiła „odkazać”, jak pani de Sévigné<sup>79</sup>. — Ale — rzekła niezbyt szczerze — kiedy ja wiem, co się gotuje w moim garnku, nie zaglądam do cudzych. W każdym bądź razie wszystko to nie jest po bożemu. A potem, a bo to jest dzielny człowiek. (Ten sąd mógłby obudzić mniemanie, że Franciszka zmieniła zdanie co do odwagi, która wedle niej — w Combray — ściągała ludzi do rzędu dzikich zwierząt, ale tak nie było. „Dzielny” znaczyło po prostu pracowity, roboczy). Powiadają też, że kradnie jak ta sroka, ale nie trzeba zawsze wierzyć temu, co ludzie gadają. Tutaj każdy pracujący wylatuje, a wszystko przez odźwiernych, bo one są zazdrosne i kotłują głowę księżnej. Ale można powiedzieć, że ten Dominik to czyste drabisko, a jego Dominiczka nie więcej warta od niego — dodała Franciszka, która w określeniu żony kamerdynera nieświadomie wzorowała się na formie „kanonik” i „kanoniczka”. W chwilę potem dostarczyła nowego przykładu urabiania rodzaju żeńskiego, dodając:

— No pewno, że to do księżnej należy się zamek w Guermentes. I to ona jest tam wójcina. To jest coś.

— Myślę, że to jest coś — rzekł z przekonaniem młody lokaj, nie poznawszy się na ironii.

— Myślisz, chłopcze, że to jest coś? Ależ dla ludzi takich jak tamte być wójtem i wójciną to jest tyle co nic. A, gdybym to ja miała zamek Guermentes, nie często by mnie ujrano w Paryżu. Muszą te państwo, co to mają z czego żyć, jak nasz pan i nasza pani, mieć zdrowie, żeby siedzieć w tym podłym mieścisku zamiast jechać do Combray, kiedy mogliby to zrobić i kiedy nikt ich tu nie trzyma. Na co one czekają ze swoim dożyciem, skoro im niczego nie zbywa: na to, żeby pomarli? Och! gdybym ja miała tylko suchy chleb i drzewo na opał w zimie, od dawna bym już siedziała u siebie, w biednej chatynce mego brata w Combray. Tam człowiek czuje przynajmniej, że żyje, nie ma wszystkich tych domisków przed sobą; jest tak cicho, że w nocy słyhać żaby, jak grają dalej niż o dwie mile.

— To musi być naprawdę piękne, pani Franciszko — wykrzyknął lokajczyk z entuzjazmem, jak gdyby ten ostatni szczegół był równie swoisty dla Combray co pływanie gondolą w Wenecji.

Będąc zresztą u nas mniej dawno niż kamerdyner, chłopak ten szukał w rozmowie z Franciszką tematów zdolnych interesować nie jego, ale ją. I Franciszka, krzywiąc się, kiedy ją traktowano jak kucharkę, miała dla lokajczyka — który mówiąc o niej, powiadał „pani gospodyni” — specjalną życzliwość, jaką odczuwają pokątni książęta krwi dla gorliwych młodych ludzi, raczących ich „wysokością”.

— Tam przynajmniej wiadomo, co się robi i w jakiej porze roku się żyje. To nie tak jak tutaj, gdzie będzie nie więcej jaskrów na Wielkanoc niż na Boże Narodzenie i gdzie ani usłyszeć dzwonka na jutrznię, kiedy pobieram rano swoje stare kości. Tam człowiek słyszy każdą godzinę; to jest tylko biedny dzwonek, ale powiadasz sobie: „Aha, brat wraca z pola”, widzisz, jak dnia ubywa, dzwonią na wszystkie sprawy ziemi, masz czas się obrócić, zanim zapalisz lampę. Tutaj jest dzień, jest noc, idzie człowiek spać, nie mógłby nawet powiedzieć, co z całym dniem zrobił. Jak te zwierzęta.

— Zdaje się, że Méséglise to jest też bardzo ładne, pani Franciszko — przerwał lokajczyk, dla którego ta rozmowa przybierała charakter nieco abstrakcyjny i który sobie przypomniał mętnie, iż słyszał przy stole, jak rozmawialiśmy o Méséglise.

— Och, Méséglise! — rzekła Franciszka z szerokim uśmiechem, jaki wracał jej zawsze na wargi, kiedy ktoś wymawiał te nazwy: Méséglise, Combray, Tansonville. Stanowiły

<sup>77</sup>toponimia — tu: ogół toponimów, czyli nazw miejsc. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>odkazać (daw.) — odpowiedzieć. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

one tak bardzo część jej własnego istnienia, że spotykając je, słysząc je w rozmowie, odczuwała wesołość dość podobną do tej, jaką budzi w klasie profesor, robiąc aluzję do jakiejś współczesnej osoby, co do której uczniowie nie byliby nigdy przypuścili, że jej nazwisko może paść z katedry. Przyjemność Franciszki płynęła również stąd, iż czuła, że owe strony są dla niej tym, czym nie są dla innych: starymi kompanami, z którymi niejedno się przeżyło; i uśmiechała się do nich, tak jakby w nich znajdowała coś dowcipnego, bo odnajdywała w nich wiele z siebie samej.

— Tak, możesz na to przysiąc, mój synu, Méséglise jest dość ładne — rzekła, śmiejąc się subtelnie — ale gdzieżeś ty mógł słyszeć o Méséglise?

— Gdzieś słyszał o Méséglise? Ależ to bardzo znane; mówiono mi o tym, i nawet często — odparł z ową zbrodniczą nieścistością informatorów, którzy za każdym razem kiedy staramy się zdać sobie obiektywnie sprawę z wagi, jaką coś, co nas tyczy, może mieć dla drugich, uniemożliwiają nam to.

— Ba, możesz mi uwierzyć, że lepiej jest tam pod wiśnią niż tutaj przy piecu.

Mówiła nawet o Eulalii jako o dobrej osobie. Bo od czasu jak Eulalia umarła, Franciszka zapomniiała kompletnie, że jej nie cierpiała za życia, tak jak nie cierpiała wszelkiej osoby, która nie miała co jeść w domu, która „zdychała z głodu”, a później dzięki łasce bogatych zaczynała „się dać”. Nie dolegało jej już, że Eulalia tak zgrabnie umiała co tygodnia wyłudzić jakiś pieniążek od ciotki. Co się tyczy ciotki Leonii, Franciszka bez ustanku śpiewała jej pochwały.

— Ale to w samym Combray, u kuzynki naszej pani, pani Franciszka była? — pytał lokajczyk.

— Tak, u pani Oktawowej, och, bardzo świętej kobity, mój chłopcze, gdzie było zawsze wszystkiego w bród i godnie, i pięknie. Dobra kobieta, możesz wiedzieć, nie pożałowała kuropatwy ani bażanta, ani nic; mogłeś tam przyjść na obiad w pięciu, w sześciu, mięsa tam pewnie nie zbrakło, i to najlepszej sorty, i wino białe i czerwone, wszystko, co tylko trzeba. (Franciszka używała słowa „żałować” w tym samym sensie, w jakim go używa La Bruyère<sup>80</sup>). Wszystko było zawsze z jej substancji, nawet kiedy rodzina siedziała tam miesiąc i lata. (Ta uwaga nie miała nic ubliżającego dla nas, bo język Franciszki był z czasu, kiedy słowo „substancja” nie było zacieśnione do stylu sądowego). Och, ręczę ci, że tam się nie cierpiało głodu. Nieraz nam ksiądz proboszcz klarował, że jeżeli była kobieta mogąca liczyć na to, że pójdzie prosto do nieba, to z pewnością pani Leonia. Biedna pani, słyszę jeszcze, jak mi powiada swoim chudym głosikiem: „Franciszko, ty wiesz, że ja nie jem, ale chcę, żeby wszyscy mieli tak dobrze, co gdybym jadła”. Rozumie się, że to nie było dla niej. Gdybyście ją widzieli, ważyła nie więcej niż koszyk wiśni, nie było co wziąć w rękę. Nie chciała mi wierzyć, nigdy nie chciała iść do doktora. Ha! ha! tam z pewnością nie zjadłoby się nic na patatajkę. Chciała, żeby służba była tam dobrze karmiona. Tutaj, choćby w to dzisiejsze polednie, nie ma człowiek ani czasu przelknąć. Wszystko się robi na lap-cap.

Franciszkę doprowadzały do rozpaczki zwłaszcza grzanki, które jadał ojciec. Przekonana była, że robił to jedynie po to, żeby wydziwiać i żeby jej kazać „tańczyć”.

— Mogę zaświadczyć — mówił młody lokaj — że nigdy coś takiego nie widziałem.

Mówił tak, jak gdyby wszystko widział i jak gdyby rezultaty jego tysiącletniego doświadczenia obejmowały wszystkie krainy i ich zwyczaje, pomiędzy którymi nigdzie nie figurowały grzanki z chleba.

— Tak, tak — mruzczał kamerdyner — ale wszystko to łatwo może się zmienić, robotnicy mają strajkować w Kanadzie, a minister mówił któregoś dnia naszemu panu, że wziął za to dwieście tysięcy franków.

Kamerdyner daleki był od potępienia ministra; sam był z gruntu uczciwy, ale ponieważ uważał wszystkich polityków za łajdaków, przekupstwo wydawało mu się mniejszą zbrodnią od łada kradzieży. Nie zastanawiał się nawet, czy dobrze usłyszał te historyczne słowa, i nie uderzyło go nieprawdopodobieństwo tego, aby sam winny powiedział je memu ojcu i aby ojciec nie wyrzucił go za drzwi. Ale filozofia Combray nie pozwoliła Franciszce spodziewać się, aby strajk w Kanadzie mógł oddziaływać na spożycie grzanek.

<sup>80</sup>La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

— Dopóki świat będzie światem — mówiła — widzicie, będzie państwo, żeby nam kazać dreptać, i służba, żeby spełniała ich kaprysy.

Wbrew teorii tego wiekuistego dreptania, już od kwadransa mama, która zapewne inną miarą oceniała śniadanie służących, powiadała:

— Ale co oni mogą robić, już więcej niż dwie godziny siedzą przy śniadaniu!

I dzwoniła nieśmiało trzy lub cztery razy. Franciszka, lokajczyk, kamerdyner słyszeli apel dzwonka bez intencji posłuchu; bądź co bądź były to dla nich niby pierwsze dźwięki strojonych instrumentów, kiedy koncert ma się niebawem rozpocząć i kiedy pozostało już tylko kilka minut pauzy. Toteż, kiedy dzwonki powtarzały się coraz natarczywsze, służba zaczynała nadstawiać ucha. Uważając, że już nie mają dużo czasu przed sobą i że powrót do pracy jest bliski, przy jakimś dźwięczniejszym nieco odgłosie dzwonka wzdychali głęboko i decydowali się na czyn: lokajczyk szedł wypalić papierosa przed bramą, Franciszka po paru uwagach w rodzaju: „Na pewno mają kręćka”, drapała się na szóste piętro porządkować swoje rzeczy, a kamerdyner, zaopatrzony się na moim biurku w papier listowy, śpiesznie załatwiał swoją prywatną korespondencję.

Mimo nadętej miny kamerdynera z „dołu” Franciszka zdołała od pierwszych dni powiadomić mnie, że Guermantowie nie zamieszkują swego pałacu na zasadzie jakiegoś odwiecznego prawa, ale na skutek kupna stosunkowo świeżego; że ogród, na który pałac wychodził, a którego nie znałem, jest dość mały i podobny do wszystkich sąsiednich ogrodów; dowiedziałem się wreszcie, że nie widnieje tam ani pańska szubienica, ani warowny młyn, ani domek z filarkami, ani dworska piekarnia, ani spichlerz, ani zameczek, ani most stały lub zwodzony, nie więcej niż wieżyczki, niż mostowe, drogowe, przewozowe, ani stosy kamieni służące za drogowaskazy. Ale jak Elstir, kiedy zatoka Balbec, straciwszy swoją tajemnicę, stała się dla mnie banalną partią słonej wody, podobną do wszystkich innych na tym globie, przywrócił jej nagle indywidualność, powiadając mi, że to jest opalowa zatoka Whistlera<sup>81</sup> w jej srebrnoniebieskich harmoniach, podobnie, kiedy nazwisko Guermantes straciło pod ciosami Franciszki ostatnią zeń poczętą siedzibę, stary przyjaciel ojca oznajmił nam raz, mówiąc o księżnej: „Ona ma ogromną sytuację w Faubourg Saint-Germain<sup>82</sup>; to jest pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain”. Bez wątpienia, pierwszy salon, pierwszy dom w Faubourg Saint-Germain to było bardzo mało po innych rezydencjach, o których kolejno marzyłem. Ale ostatecznie i ta — a miała to być ostatnia — miała coś, choćby to było najskromniejsze, co wykraczało poza jej własną materię, jakieś tajemne zróżnicowanie.

I czułem potrzebę szukania tajemnicy nazwiska pani de Guermantes w jej „salonie”, w jej przyjaciółach, tym bardziej iż tajemnicy tej nie znajdowałem w jej osobie, kiedy ją widział wychodzącą rano pieszo, a po południu wyjeżdżającą powozem. Z pewnością już w kościele w Combray księżna, ujrzana w błysku metamorfozy, z policzkami niepodatnymi, nieprzenikalnymi dla barwy nazwiska Guermantes i popołudni nad brzegiem Vivonne, ukazała mi się w miejsce mego spiorunowanego marzenia niby łabędź lub wierzba, w które zmieniono boga lub nimfę, iżby odtąd, poddani prawom natury, zanurzali się w wodę lub drżeli na wietrze. Jednakże skoro te odblaski zgasły, ledwom je stracił z oczu, skupiały się na nowo niby różowozielone blaski zachodzącego słońca za wiosłem, które je złamało; i w samotności mojej myśli nazwisko wchłonęło w siebie rychło wspomnienie twarzy. Teraz widywałem często księżnę w oknie, w dziedzińcu, na ulicy i jeżeli nie zdołałem wcielić w nią nazwiska Guermantes, wmyśleć się w fakt, że to ona jest panią de Guermantes, winiłem o to niezdolność mojego ducha do wysiłku, jakiego od niego żądałem; ale ona, nasza sąsiadka, księżna, zdawała się popełniać ten sam błąd, co więcej, popełniała go bez wzruszenia, bez żadnego z moich skrupułów, nie podejrzewając nawet, że to jest błąd. I tak pani de Guermantes objawiała w swojej toalecie tę samą troskę podążania za modą, co gdyby, uważając, iż stała się kobietą taką jak inne, aspirowała do tej elegancji, w której byle jaka kobieta mogła jej dorównać, przewyższyć ją nawet; widziałem ją, jak na ulicy przyglądała się z podziwem dobrze ubranej aktorce; rano zaś, w chwili gdy miała wyjść pieszo — jak gdyby opinia przechodniów, których pospolitość księżna

<sup>81</sup>Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

podkreślała swoją postać, obnosząc poufale wśród nich swoje niedostępne życie, mogła być dla niej trybunałem — widywałem ją przed lustrem, grającą z przekonaniem wolnym od wszelkiego rozdwojenia i ironii, z pasją, z irytacją, z ambicją — niby królowa, która zgodziła się w komedii dworskiej kreować subretkę<sup>83</sup> — grającą ową rolę tak poniżej jej samej, rolę eleganckiej kobiety; i w mitologicznym zapomnieniu swojej przyrodzonej wielkości sprawdzała, czy woalka jest dobrze obciągnięta, przyplaszczała rękawy, poprawiała płaszcz, jak boski łabędź wykonuje wszystkie ruchy swego zwierzęcego gatunku, obnosi oczy namalowane z dwóch stron swego dzioba, nie wkładając w nie spojrzeń, i rzuca się nagle na spinkę lub na parasol jako łabędź, nie pamiętając, że jest bogiem. Ale jak podróżny zawiedziony pierwszym widokiem miasta powiada sobie, iż przeniknie może jego czar, zwiedzając muzea, nawiązując znajomość z ludem, pracując w bibliotekach, tak ja powiadałem sobie, że gdybym był u pani de Guermantes, gdybym należał do jej przyjaciół, gdybym wdarł się w jej egzystencję, poznałbym, co pod swoją pomarańczową i błyszczącą powierzchnią nazwisko jej mieści realnie, przedmiotowo, dla innych, skoro przecież przyjaciel ojca mówił, że kółko Guermantów jest czymś odrębnym w Faubourg Saint-Germain.

Życie, które (jak sądziłem) musiano tam prowadzić, wypływało ze źródła będącego tak poza sferą doświadczeń, wydawało mi się czymś tak odrębnym, że nie mógłbym sobie wyobrazić na wieczorach księżnej osób, z którymi bym się gdzieś stykał wprzód, osób realnych. Bo wówczas, nie mogąc nagle zmienić swej natury, musiałyby tam mówić rzeczy analogiczne do tych, które znałem; partnerzy ich zniżyliby się może do odpowiadania im w tym samym ludzkim narzeczu; a zatem w ciągu wieczoru w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain istniałyby chwile identyczne z tymi, jakie już przeżyłem: co było niemożliwe. Prawda, że mój umysł porał się z pewnymi trudnościami: obecność ciała Chrystusa w hostii była mi nie bardziej tajemnicza niż ten położony na prawym brzegu Sekwany pierwszy salon Faubourg Saint-Germain, gdzie ze swojego pokoju mogłem słyszeć, jak trzepią rano meble. Ale linia demarkacyjna dzieląca mnie od Faubourg Saint-Germain, mimo iż tylko idealna, zdawała mi się tym rzeczywistsza; czułem, że słomianka Guermantów, pomieszczona z drugiej strony tego równika (słomianka, o której matka, spostrzegłszy ją jak ja, pewnego dnia, kiedy drzwi były otwarte, ośmieliła się powiedzieć, że jest w bardzo lichym stanie) — to już jest Faubourg. Zresztą jakim cudem ta jadalnia, ten ciemny korytarz, sień z czerwonymi pluszowymi meblami, które mogłem czasem spostrzec przez okno z naszej kuchni, mogłyby nie posiadać dla mnie tajemniczego czaru Faubourg Saint-Germain, jak mogłyby nie być jego najistotniejszą częścią, jego geograficzną przynależnością, skoro być przyjętym w tej jadalni znaczyło bywać w Faubourg Saint-Germain, oddychać jego atmosferą; skoro ci, co przed obiadem siadali obok pani de Guermantes na skórzanej kanapie w hallu, wszyscy należeli do Faubourg Saint-Germain? Bez wątplenia, gdzie indziej niż w owym Faubourg, na pewnych wieczorach, można było czasami widzieć, królującego majestatycznie pośród pospolitego gminu elegantów, jednego z owych ludzi, którzy są tylko nazwiskami i którzy, kiedy ich sobie chcemy wyobrazić, mają na przemian coś z turnieju i z dworskiego lasu. Ale tu, w pierwszym salonie Faubourg Saint-Germain, byli tylko oni. Byli niby kolumny z kosztownego materiału, podtrzymujące świątynię. Nawet na zwykłe przyjęcia jedynie spośród nich pani de Guermantes mogła dobierać swoich gości; przy obiedzie na dwanaście osób, zgromadzeni dokoła nakrytego obrusu, byli niby złote posągi apostołów w Sainte-Chapelle<sup>84</sup>, symboliczne i święte filary dokoła Stołu Pańskiego.

Co się tyczy ogródka, który się rozciągał między wysokimi murami za pałacem i gdzie pani de Guermantes częstowała w lecie po obiedzie oranżadą i likierami, jakże mógłbym wątpić, iż siedzieć tam między dziewiątą a jedenastą wieczór na żelaznych krzeselkach — obdarzonych równie magiczną władzą co skórzana kanapa — znaczy oddychać swoistym wietrzykiem Saint-Germain, tak jak odbywając sjęstę w oazie Figuig, jest się tym samym w Afryce? Jedynie wyobrażenia i wiara mogą zróżnicować pewne przedmioty, pewne osoby i stworzyć atmosferę. Niestety! te malownicze pejzaże, te naturalne gry światła, te lokalne

<sup>83</sup>*subretka* (z fr.) — pokojówka; także: typ postaci sprytniej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Sainte-Chapelle* (fr.: Świątka Kaplica) — gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]



osobliwości, te artystyczne ornamenty Faubourg Saint-Germain pozostaną mi z pewnością na zawsze niedostępne. I drżałem tylko, spostrzegając z pełnego morza (bez nadziei, abym się tam kiedy znalazł!) — niby daleko wysunięty minaret, niby pierwsze drzewo palmowe, niby początek egzotycznego przemysłu lub roślinności — zniszczoną nadbrzeżną słomiankę.

Ale jeżeli pałac Guermantes zaczynał się dla mnie u bramy przedsiionka, przyległości jego musiały się rozciągać o wiele dalej wedle mniemania samego księcia. Uważając wszystkich lokatorów za swoich dzierżawców, za wzbogaconych na rewolucji plebejuszków, chmyzów<sup>85</sup>, których opinia jest czymś bez znaczenia, książę golił się rano w nocnej koszuli przy oknie, schodził na dziedziniec, wedle temperatury powietrza w danym dniu, w kamizelce albo w piżamie, we włoskiej szkockiej kurtce osobliwego koloru, w kucym jasnym paltociku krótszym od marynarki, i kazał któremuś ze swoich pikierów<sup>86</sup> przejeżdżać świeżo kupionego konia. Niejeden raz nawet koń uszkodził wystawę Jupiena, który ku oburzeniu księcia żądał odszkodowania. „Choćby tylko przez wzgląd na wszystko dobro, jakie księżna pani świadczy w domu i w parafii, żądać czegoś od nas, to jest bezczelność ze strony tego chłystka”. Ale Jupien upierał się przy swoim, zdając się zgola nie wiedzieć, co za „dobro” wyświadczyła komu kiedy księżna. A jednak ona była dobroczynna; ale ponieważ nie można ogarnąć wszystkich, pamięć, że się obdarzyło jednego, staje się racją oszczędności w stosunku do drugich, ku tym większemu ich rozgorzyczeniu. Z innych zresztą punktów widzenia niż dobroczynność dzielnica ta wydawała się księciu — i to na znaczną odległość — jedynie przedłużeniem jego dziedzina, rozleglejszym maneżem<sup>87</sup> dla jego koni. Sprawdziwszy, jak nowy koń kłusuje sam, kazał go zaprzęgać, objeżdżać sąsiednie ulice, przy czym pikier biegł koło powozu, trzymając lejce, przeprowadzając konia przed księciem, który stał na trotuarze, olbrzymi, rosły, jasno ubrany, z cygarem w ustach, z zadartą głową, z bystrym monoklem, aż do chwili gdy sam wskakiwał na kozioł, aby jeszcze przepróbować konia, i jechał nowym zaprzęgiem spotkać się ze swoją kochanką na Polach Elizejskich.

Pan de Guermantes witał się w dziedzińcu z dwiema parami, które mniej więcej należały do jego świata: z parą swoich kuzynów, których — podobnie jak się zdarza w stadłach robotników — nie było nigdy w domu dla zajęcia się dziećmi, bo od rana żona spieszyła do Schola<sup>88</sup> doskonalić się w sztuce kontrapunktu i fugi<sup>89</sup>, a mąż szedł do swojej pracowni rzeźbić w drzewie i wytłaczać w skórce; dalej z baronostwem de Norpois, którzy, zawsze ubrani czarno — żona jak kobieta wynajmująca krzesła, a mąż jak karawaniarz — wychodzili kilka razy dziennie, udając się do kościoła. Baron de Norpois był bratanikiem naszego znajomego eks-ambasadora, którego właśnie ojciec spotkał w sieni, ale nie zgadując, skąd idzie; bo ojciec myślał, że osobistość tak znaczna, utrzymująca kontakt z pierwszymi figurami w Europie i przypuszczalnie bardzo obojętna na czcze arystokratyczne honory, nie ma powodu utrzymywać stosunków z tym gatunkiem klerykalnych i ograniczonych szlachciurów. Mieszkali w tym domu od niedawna; Jupien podszedł właśnie, aby coś powiedzieć baronowi, który się kłaniał panu de Guermantes, przy czym, nie znając dokładnie jego nazwiska, Jupien nazwał go „panem Norpois”.

— Ha! ha! „Pan Norpois”, a to doprawdy kapitalne! Cierpliwości, niedługo nazwie pana obywatelem Norpois! — wykrzyknął, zwracając się do barona, pan de Guermantes. Mógł wreszcie wyładować swoją złość na Jupiena, który tytułował go „pan”, a nie „książę pan”.

Pewnego dnia, kiedy pan de Guermantes potrzebował jakiejś informacji w zakresie urzędu jego ojca, przedstawił mu się sam z wielkim wdziękiem. Od tego czasu często miał okazję prosić ojca o jakąś sąsiedzką przysługę; spostrzegłszy go, jak schodzi po schodach pogrążony w myślach i unikający wszelkiego spotkania, książę, porzucając swoich masztalerzy, podchodził do ojca w dziedzińcu, poprawiał mu kołnierz u palta z usługomością odziedziczoną po dawnych pokojowcach królewskich, brał go za rękę, zatrzymując jego

<sup>85</sup> *chmyz* (lekcew.) — nieznaczący, niepozorny człowiek; smarkacz. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *pikier* (daw., z fr.) — ujeżdżacz koni. [przypis edytorski]

<sup>87</sup> *maneż* — ujeżdżalnia koni a. ogrodzony teren do nauki jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>88</sup> *Schola* — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatne konserwatorium w Paryżu, zał. w 1894. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *kontrapunkt i fuga* (muz.) — terminy muzyczne. [przypis edytorski]

dłoń w swojej, pieszcząc ją nawet, aby mu dowiedzieć z bezwstydem kurtyzany, że mu nie żałuje kontaktu swej szacownej skóry; prowadził go jak na smyczy — bardzo znudzonego i myślącego tylko o tym, jak by się wymknąć — aż poza główną bramę.

Pewnego dnia, mijając nas powozem wraz z żoną, księżę skłonił się nam głęboko; musiał jej powiedzieć moje nazwisko, ale jakąż mogłem mieć nadzieję, aby ona zapamiętała to nazwisko wraz z moją twarzą? A przy tym cóż za mizerna rekomendacja — być jej wskazanym jedynie jako jeden z lokatorów! Ważniejsze byłoby spotkać księżnę u pani de Villeparisis, która właśnie poprosiła mnie przez babkę, abym ją odwiedził, wiedząc zaś, że mam zamiar poświęcić się literaturze, dodała, że spotkałbym u niej paru pisarzy. Ale ojciec uważał, że jestem jeszcze za młody, aby bywać w świecie; że zaś stan mego zdrowia wciąż go niepokoił, nie chciał mi dostarczać zbyt licznych okazji do wychodzenia wieczorem.

Ponieważ jeden z lokajów pani de Guermentes często rozmawiał z Franciszką, dosłyszałem, jak wymienia kilka salonów, gdzie księżna bywała, ale nie wyobrażałem ich sobie; z chwilą gdy były częścią jej życia — życia, które widziałem jedynie poprzez jej nazwisko — czyż nie były czymś niepojętym?

— Jest dzisiaj wielki wieczór z chińskimi cieniami u księżnej Parmy — mówił lokaj — ale nie będziemy, bo dziś o piątej pani jedzie do Chantilly spędzić dwa dni u księcia d'Aumale<sup>90</sup>. Pokojówka i kamerdyner jadą z nią. Ja zostaję. Księżnej Parmy będzie bardzo przykro; więcej niż cztery razy pisała do naszej pani.

— Więc wy nie jedziecie tego lata do Guermentes?

— Pierwszy raz nas tam nie będzie; z przyczyny reumatyzmów księcia pana doktor zabronił mu tam wracać, zanim się urządzą kaloryfery; dawniej siadywało się tam aż do stycznia. Jeżeli kaloryfer nie będzie gotów, może nasza pani pojedzie do Cannes do księżnej de Guise, ale to jeszcze niepewne.

— A do teatru chodzicie?

— Chodzimy czasem do Opery, czasem w dni abonamentu księżnej Parmy, to spada co tydzień; zdaje się, że to bardzo szykowne, co tam pokazują: sztuczki, opera, wszystko. Nasza księżna nie wzięła abonamentu, ale bywamy i tak, raz u jednej przyjaciółki naszej pani, inszy raz u drugiej, często na parterze w łoży księżnej Marii, też Guermentes, zamężnej za kuzynem naszego księcia. To jest siostra księcia bawarskiego... Więc pani wraca do siebie — mówił lokaj, który, mimo iż utożsamiając się z Guermentami, miał wszelako o „państwie” w ogólności informacje dyplomatyczne, pozwalające mu traktować Franciszkę z takim szacunkiem, co gdyby służyła u jakichś książąt. — Pani Franciszka ma dobre zdrowie.

— Ha! ha! gdyby nie te przekłete nogi! Na dworze to jeszcze jakoś idzie (dworzem nazywał się dziedziniec, także ulice, gdzie Franciszka dość lubiła się przechadzać, słowem, równy teren), ale te przekłete schodziska! Do widzenia panu, da się pan widzieć może jeszcze wieczór.

Franciszka pragnęła jeszcze rozmawiać z lokajem, zwłaszcza że ją pouczył, iż synowie diuków noszą często tytuł *prince*, który zachowują aż do śmierci ojca. Niewątpliwie, kult szlachty, skojarzony z pewnym duchem buntu i godzący się z nim zresztą, dziedziczny, wyssany z gleby Francji, musi być bardzo silny wśród ludu. Można było mówić Franciszce o geniuszu Napoleona lub o telegrafie bez drutu, przy czym zaledwie że słuchała z roztargnieniem i nie przerywała ani na chwilę czynności wybierania popiołu z kominka lub nakrywania do stołu; ale skoro tylko ktoś zeszedł na te właściwości, na przykład, że młodszy syn diuka de Guermentes nazywa się zazwyczaj księżę d'Oleron, wykrzykiwała: „To bardzo piękne!” i stawała olśniona niby przed witrażem.

Franciszka dowiedziała się też przez kamerdynera księcia d'Agrigente (który to kamerdyner zaprzyjaźnił się z nią, nosząc często listy do księżnej), że w istocie wiele się mówi w świecie o małżeństwie margrabiego do Saint-Loup z panną d'Ambresac i że to jest prawie postanowione.

Ta willa, ta łoża parterowa, w które pani de Guermentes przesączała swoje życie, wydawały mi się czymś nie mniej czarodziejskim niż jej apartamenty. Nazwiska Guise, Parma, Guermentes-Bavière wyróżniały spośród wszystkich innych wilegiatur<sup>91</sup> te, na

<sup>90</sup>Henryk Orleański, księżę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

które udawała się księżna, oraz codzienne fety, które ślad kół karety wiązał z jej pałacem. O ile mi te nazwiska powiadały, że na tych wilegiaturach, na tych fetach spływa życie pani de Guermantes, nie objaśniały mi w niczym tego życia. Każda z nich dawała egzystencji księżnej inne przeznaczenie, ale wszystkie kazały jej jedynie zmieniać rodzaj tajemnicy, w niczym nie rozpraszając tej, w której przesuwała się, chroniona cienką ścianką, zamknięta, niby w naczyniu, pośród fal powszechnego życia. Księżna mogła jeść śniadanie nad Morzem Śródziemnym w czas karnawału, ale w willi księżnej de Guise, gdzie królowa paryskiego towarzystwa była — w swojej białej pikowej sukni, pośród licznych księżniczek krwi — jedynie gościem podobnym do innych, tym samym stawała się dla mnie jeszcze bardziej sobą, bardziej wzruszająca w tej metamorfozie, niby gwiazda baletu, która w jakiejś fantazyjnej figurze tanecznej zajmuje kolejno miejsce innych balerin; mogła oglądać chińskie cienie, ale na wieczorze księżnej Parmy; mogła słuchać tragedii lub opery, ale w parterowej łoży swej księżęco-bawarskiej kuzynki.

W ciele danej osoby lokalizujemy wszystkie możliwości jej życia, wspomnienie istot, które ona zna, z którymi dopiero co się rozstała lub z którymi ma się spotkać. Toteż kiedy dowiedziawszy się od Franciszki, że pani de Guermantes pójdzie pieszo na śniadanie do księżnej Parmy, ujrzałem ją koło południa, jak wychodzi z domu w cielistej atlasowej sukni, z twarzą o tym samym odcieniu, niby chmura o zachodzie słońca, widziałem przed sobą wszystkie rozkosze Faubourg Saint-Germain zamknięte niby w muszli w tej polerowanej skorupie z różowej perłowej masy.

Ojciec miał w ministerstwie przyjaciela, niejakiego A. J. Moreau, który, aby się odróżnić od innych Moreau, zawsze poprzedzał swoje nazwisko tymi inicjałami, tak że go nazywano w skrócie: „A. J.”. Otóż nie wiem, jaką drogą ów A. J. dostał fotel na galowe przedstawienie w Operze; ofiarował bilet ojcu, że zaś Berma, której nie widziałem na scenie od czasu mego pierwszego rozczarowania, miała grać akt *Fedry*<sup>92</sup>, babka uprosiła, aby ojciec dał mi ten bilet.

Prawdę mówiąc, nie przywiązywałem żadnej wagi do tej możliwości usłyszenia Bermy, która kilka lat wprzód przyprawiła mnie o tyle wzruszeń. I nie bez melancholii stwierdziłem swoją obojętność na to, co byłbym niegdyś przełożył nad zdrowie i spokój. Nie znaczy to, aby moja żądza oglądania z bliska szacownych części rzeczywistości, które odgadywała moja wyobraźnia, straciła na sile. Ale ta wyobraźnia nie mieściła ich już w dykcji wielkiej aktorki; od czasu wizyt u Elstira wierę duchową, jaką pokładałem niegdyś w tej grze, w tragicznej sztuce Bermy, przenieśliśmy teraz na pewne tkaniny, na pewne współczesne obrazy; i dalibóg, odkąd moje pragnienie nie podsycalo już nieustannego kultu dykcji i póź Bermy, „duplikat” ich, jaki posiadałem w sercu, zwiędł po trochu, jak owe inne „duplikaty” nieboszczyków w starożytnym Egipcie, które trzeba było nieustannie karmić, aby podtrzymać ich życie. Ta sztuka stała się nikła i marna; nie było już w niej głębi, duszy.

W chwili gdy, korzystając z ojcowskiego biletu, wstępowałem po wielkich schodach Opery, spostrzegłem przed sobą człowieka, którego wziąłem zrazu za pana de Charlus. W istocie miał coś z niego; kiedy obrócił głowę, aby poprosić urzędnika o jakąś informację, ujrzałem, że się omylił; ale nie wahałem się pomieścić nieznanego w tej samej klasie społecznej, nie tylko ze sposobu ubrania, ale i ze sposobu, w jaki mówił do kontrolera i do przetrzymujących go bileterek. Bo, poza właściwościami indywidualnymi, była jeszcze w owej epoce bardzo wyraźna różnica między bogatym elegantem z tych kół arystokracji a wszelkim bogatym elegantem ze świata finansów lub wielkiego przemysłu. Tam gdzie jeden z tych ostatnich uważałby, że podkreśla swoją elegancję ostrym i wyniosłym tonem wobec niższych, wielki pan, łagodny, uśmiechnięty, robił wrażenie, że przywilej dobrego wychowania mieści w komedii pokory i cierpliwości, w udaniu, że jest po prostu pierwszym lepszym z widzów. Widząc tego wielkiego pana, pokrywającego dobrodusznym uśmiechem nieprzebyty próg specjalnego świata, jaki nosił w sobie, niejeden syn bogatego bankiera, wchodząc w tej chwili do teatru, wziąłby go może za byle kogo, gdyby w nim nie dojrzał zdumiewającego podobieństwa do świeżo w ilustrowanych pismach reproduktowanego portretu bratanka cesarza austriackiego, księcia saskiego, właśnie bawiącego w tej chwili w Paryżu. Wiedziałem, że ów książę jest wiel-

<sup>92</sup>*Fedra* — klasycystyczna tragedia Jeana Racine’a (1639–1699). [przypis edytorski]

kim przyjacielem Guermantów. Zbliżywszy się do kontrolera, usłyszałem, jak książę saski (lub ten, którego zań brałem) powiada z uśmiechem: „Nie wiem numeru łoży, kuzynka mówiła mi, żebym po prostu spytał o jej łożę”.

Może to był książę saski; może to księżnę de Guermantes (którą w takim razie mógłbym ujrzeć w momencie jej niepojętego życia w parterowej łoży kuzynki) oczy jego widziały w myśli, kiedy mówił: „Kuzynka mówiła mi, żebym się tylko spytał o jej łożę”, tak że to uśmiechnięte i odrębne spojrzenie oraz te proste słowa głaskały mi serce na przemian mackami możliwego szczęścia i niepewnego uroku o wiele bardziej, niżby to zrobiło oderwane marzenie. W każdym razie, wymawiając te słowa, nieznajomy otwierał pospolitemu wieczorowi mego codziennego życia możliwe przejście do nowego świata; korytarzyk, który mu wskazano na słowa „parterowa łoża” i w który się zapuścił, był wilgotny i odrapany i zdawał się prowadzić do jakichś morskich grot, do mitologicznego królestwa nimf wodnych. Miałem przed sobą tylko pana we fraku, który się oddalał; ale puściłem nań, niby niezręcznym i błędzącym reflektorem, myśl, że to jest książę saski i że idzie do księżnej de Guermantes. I mimo że był sam, ta myśl, będąca czymś poza nim, niepochwytana, olbrzymia i przerywana na kształt projekcji, zdawała się go poprzedzać i prowadzić niby bóstwo towarzyszące greckiemu wojownikowi, niewidzialne dla reszty ludzi.

Udałem się na swoje miejsce, starając się odnaleźć w myśli jakiś wiersz *Fedry*, którego sobie dokładnie nie przypominał. Tak jak go sobie recytowałem, wiersz nie miał dostatecznej ilości stóp<sup>93</sup>; ale ponieważ nie próbowałem ich policzyć, zdawało mi się, że nie ma żadnej wspólnej miary między jego nieforemnością a klasycznym wierszem. Nie dziwiłbym się, gdyby trzeba było odjąć więcej niż sześć sylab od tego monstualnego zdania, aby z niego uczynić wiersz dwunastostopowy. Ale nagle przypomniałem go sobie: nieublagane kanty nieludzkiego świata znikły jakby czarami, sylaby wypełniły natychmiast miarę aleksandrynu<sup>94</sup>, to, co w nim było zbyteczne, ulotniło się swobodnie i łatwo, niby bańka powietrza pękająca na powierzchni wody. I w istocie, ta potworność, z którą walczyłem, to była tylko jedna stopa.

Pewną liczbę foteli parterowych oddano do sprzedaży w kasie; zakupili je snobi lub ciekawscy, żądni oglądać ludzi, których inaczej nie mieliby sposobności widzieć z bliska. I w istocie trochę z ich prawdziwego życia światowego, zazwyczaj ukrytego, można było oglądać publicznie, bo księżna Parmy sama rozdała między swoich przyjaciół łoże i balkony, tak iż widownia była niby salon, gdzie każdy krążył, przysiadając się to tu, to tam koło jakiejś znajomej damy.

Obok mnie siedzieli zwykli ludzie, którzy nie znając abonujących łoże, chcieli okazać, że ich poznają, i wymieniali ich głośno. Dodawali, że ci wybrańcy przychodzą tu jak do salonu; chcieli przez to powiedzieć, że nie zwracają uwagi na scenę. Ale właśnie było przeciwnie. Genialny student, który kupił fotel, chcąc ujrzeć Bermę, myśli tylko o tym, żeby nie powalać rękawiczek, nie zawadzać, zyskać sympatię przygodnego sąsiada, ścigać uśmiechem jakieś przelotne spojrzenie, unikać z niegrzeczną miną wzroku znajomej osoby, którą odkrył w sali i którą po tysiącznych wahaniach decyduje się odwiedzić w chwili, gdy trzy uderzenia rozlegające się, zanim tam dotarł, zmuszają go do ucieczki niby Hebrajczyków przez Morze Czerwone między wzburzonymi falami widzów, których poruszył z miejsca i którym drze suknie lub depce po nogach. Wręcz przeciwnie ludzie światowi: ci byli w swoich łożach za balkonem jak w małych wiszących salonikach, z których jedną ścianę usunięto, lub jak w kawiarni, dokąd gość zachodzi napić się czegoś, nieonieśmielony lustrami w złotych ramach ani czerwonymi krzesłami lokalu w stylu neapolitańskim; i dlatego że wspierali się obojętną ręką o złożone słupy kolumn podtrzymujących tę świątynię sztuki, dlatego że nie byli wzruszeni nadmiernymi honorami, jakie zdawały się im oddawać dwie rzeźbione figury, wyciągające ku łożom gałęzie palm i laurów, oni jedni mieliby swobodę ducha na słuchanie sztuki — gdyby tylko mieli inteligencję po temu.

<sup>93</sup>stopa — tu: najmniejsza jednostka miary rytmicznej wiersza. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>aleksandryn (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epeje. [przypis edytorski]

Najpierw były tylko mgliste ciemności, w których spotykało się nagle, niby błysk niewidocznego drogiego kamienia, fosforescencją pary sławnych oczu, lub — niby medalion Henryka IV<sup>95</sup> odcinający się na czarnym tle — wydatny profil księcia d'Aumale, do którego niewidzialna dama krzyczała: „Niech Wasza Wysokość pozwoli sobie zdjąć palto”, na co księżę odpowiadał: „Ale nie, cóż znowu, pani d'Ambresac”. Mimo słabej obrony dama postawiła na swoim i wszyscy zazdrościli jej tego honoru.

Ale w innych parterowych łóżach białe boginie, zamieszkujące te mroczne miejsca, prawie wszędzie schroniły się pod ciemne ściany, pozostając niewidzialne. Jednakże w miarę trwania spektaklu mglisto ludzkie ich kształty wyłaniały się miękko jeden po drugim z głębin nocy, którą wyścielały, i wychylając się ku światłu, ukazywały ich pół nagie ciała. Ciała te zatrzymywały się na prostopadłej granicy i na półmrocznej powierzchni, gdzie lśniące twarze jawiły się poza roześmianym, pianistym i lekkim szelestem pierzastych wachlarzy, pod gęstwą usianych perłami purpurowych włosów, jak gdyby sfalowanych przypliwem; potem zaczynały się fotele parterowe, siedziba śmiertelników na zawsze oddzielona od ciemnego i przezroczystego królestwa, dla którego tu i ówdzie tworzyły granicę, swoją płynną i pełną powierzchnią, jasne i zwierciadlane oczy bogiń wód. Bo nadbrzeżne straponteny<sup>96</sup>, kształty potworów z parteru odbijały się w tych oczach jedynie wedle praw optyki i wedle swego kąta nachylenia, tak jak się dzieje z tymi dwiema dziedzinami rzeczywistego świata, do których — świadomi, że nie posiadają nawet w prymitywnym zarodku duszy podobnej do naszej — uważalibyśmy za szaleństwo zwracać uśmiech lub spojrzeć: minerałami i osobami, które nam nie były przedstawione. To była granica ich królestwa; w głębi natomiast promienne córki mórz obracały się co chwilę, uśmiechając się do brodatych trytonów<sup>97</sup> wtłoczonych w zaułki groty lub do jakiegoś wodnego półboga, mającego jako czaszkę gładki kamień, który fala opłotła oślizgła algą, a jako oko krążek skalnego kryształu. Przeginały się ku nim, częstowały ich cukierkami; czasem fala rozwierała się dla nowej nereidy<sup>98</sup>, która spóźniona, uśmiechnięta i zawstydzona, wykwiwała z ciemności; po czym, po skończonym akcie, nie spodziewając się już usłyszeć melodyjnych odgłosów ziemi, które je ściągnęły na powierzchnię, te tak różne siostrzyce, dając nurka wszystkie naraz, znikają w mroku. Ale ze wszystkich tych schronień, na których próg sprowadzała ciekawe i niedostępne boginie błaha chęć ujrzenia dzieł ludzkich, najślawniejszy był blok półmroku znany jako łoża księżnej Marii de Guermentes-Bavière.

Niby można bogini, z dała przodująca igraszkom pomniejszych bóstw, księżna Maria umyślnie siedziała nieco w głębi, na bocznej kanapie, czerwonej jak ławica koralu, obok szerokiego szklistego odbłasku, który był prawdopodobnie lustrem i który budził pojęcie jakiegoś prostopadłego, mrocznego i płynnego wycinka, dokonanego przez promień w olśnionym kryształach wód. Wielki biały kwiat — zarazem pióro i kielich, jak pewne morskie wodorosty — puszysty jak skrzydło, spływał z czoła księżnej po policzku, którego zarys obejmował z zalotną, miłosną i żywą miękkością, tuląc go niby różowe jajko w przytulnym gniazdku alcjona<sup>99</sup>. Na włosach księżnej, schodząc aż do brwi, potem jawiąc się niżej na wysokości piersi, rozpościerała się siatka z białych muszelek, które łowi się w pewnych morzach południowych, a które były pomieszane z perłami; mozaika morska, ledwo wyłoniona z fal i chwilami zanurzająca się w cieniu, w którego głębi nawet wówczas zdradzała obecność ludzką olśniewająca żywość oczu księżnej. Piękność, która wynosiła ją o wiele ponad inne bajeczne córki mroku, nie była cała materialnie i wyłącznie wypisana w jej karku, barkach, ramionach, kibici. Ale rozkoszna i niedokończona linia tej postaci była jakby punktem wyjścia, bezzawodną przynętą niewidzialnych linii, które oko przedłużało mimo woli, cudownych linii zrodzonych dokoła kobiety niby rzucone na ciemności widmo idealnego kształtu.

<sup>95</sup>Henryk IV (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>strapontena (z fr.) — składane siedzenie, oszczędzające miejsce; dostawka. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>tryton (mit. gr.) — bóstwo morskie z orszaku Posejdona, o tułowiu człowieka i rybim ogonie. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>nereidy (mit. gr.) — nimfy morskie, córki boga morskiego Nereusa. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>alcjon (mit. gr.) — ptak, w którego została zamieniona Alkione (łac. Alcyone) i który buduje swoje gniazdo na plaży w okresie spokoju na morzu; zimorodek. [przypis edytorski]

— To księżna Maria de Guermantes — rzekła do towarzyszącego jej pana moja sąsiadka, akcentując przesadnie słowo „księżna” dla zaznaczenia, że ten tytuł wydaje się jej śmieszny. — Nie żałowała sobie pereł. Zdaje mi się, że gdybym miała ich tyle, nie robiłabym takiej wystawy; nie uważam, aby to było w dobrym guście.

A jednak, poznając księżnę Marię, wszyscy ci, co starali się dojrzeć, kto jest na sali, uczuli, że się w ich sercu wznosi prawy tron piękności. W istocie, co się tyczyło księżnej de Luxembourg, pani de Morienval, pani de Saint-Euverte i tylu innych, szczegółem pozwalającym zidentyfikować ich twarz było spotkanie się dużego czerwonego nosa z zającą wargą lub dwóch namarszczonych policzków z małym wąsikiem. Te rysy wystarczały zresztą, aby czarować, ponieważ, mając jedynie konwencjonalną wymowę alfabetu, pozwalały odczytać sławne i imponujące nazwisko; ale w końcu rodziły myśl, że brzydota jest czymś arystokratycznym i że zbyteczne jest, aby twarz wielkiej damy — o ile jest dystygowana — była piękna. Ale jak niektórzy artyści zamiast liter własnego nazwiska kreślą pod swoim obrazem kształt piękny sam przez się — motyla, jaszczurkę, kwiat — tak samo księżna Maria ukazywała w swojej łoży wspaniałe ciało i uroczą twarz, dając tym dowód, że piękność może być najszlachetniejszym podpisem; obecność bowiem pani de Guermantes, zapraszającej do teatru jedynie osoby ze swego najbliższego kółka, była w oczach miłośników arystokracji najlepszym świadectwem autentyczności obrazu, jaki przedstawiała jej łoża, wizja zwykłego a odrębnego życia księżnej w jej pałacu w Monachium i w Paryżu.

Wyobraźnia nasza jest niby popsuta katarynka, która gra zawsze coś innego niż zapowiedzianą melodię; toteż za każdym razem, kiedym usłyszał nazwisko księżnej de Guermantes-Bavière, zaczynało śpiewać we mnie wspomnienie pewnych dzieł z XVI wieku. Trzeba mi ją było odrzeć z tego wspomnienia teraz, kiedym ją widział częstującą cukierkami grubego pana we fraku. Zapewne, daleki byłem mimo to od wniosku, że ona i jej goście to są istoty podobne innym. Rozumiałem dobrze, że to, co oni robią, to tylko gra, i że — jako preludium do scen swego prawdziwego życia (którego najważniejszą część przeżywali z pewnością nie tutaj) — regulują swoje postęпки wedle nieznanym mi obzędów, udają, że się częstują cukierkami lub odmawiają ich, czyniąc gesty pozbawione znaczenia, unormowane z góry, niby krok tancerki, która na przemian staje na palcach lub krąży dokoła szarfy. Kto wie, w chwili gdy bogini ofiarowywała te cukierki, powiadała może ironicznie (bo widziałem, że się uśmiecha): „Czy pozwoli pan cukierka?”. Cóż mi to znaczyło? Ujrzałbym rozkoszne wyrafinowanie w celowej oschłości (*à la*<sup>100</sup> Mérimée<sup>101</sup> lub *à la* Meilhac<sup>102</sup>) tych słów skierowanych przez boginię do półboga, który wiedział, jakie wzniosłe myśli pokrywają oboje, chowając je z pewnością na chwilę, gdy zaczną znów żyć prawdziwym życiem; i podejmując zabawę, odpowiadał z tą samą dyskretną finezją: „Owszem, proszę o wisienkę”. I byłbym słuchał tego dialogu równie chciwie, co jakiejś sceny z *Męża debiutantki*, gdzie brak poezji i wielkich myśli — rzeczy dla mnie tak potocznych, które, przypuszczam, Meilhac byłby tysiąc razy zdolny tam włożyć — zdawał mi się sam przez się elegancją, elegancją umowną i przez to samo tym bardziej tajemniczą i pouczającą.

— Ten gruby to margrabia de Ganançay — rzekł z dobrze poinformowaną miną mój sąsiad, który źle usłyszał szepnięte za nim nazwisko.

Margrabia de Palancy, z wyciągniętą szyją, z przekrzywioną twarzą, z wielkim okiem przyklepionym do monokla, przesuwiał się z wolna w przejrzystym cieniu, zdając się tak samo nie widzieć publiczności z fotelów, jak ryba przepływająca poza oszkloną ścianą akwarium. Chwilami zatrzymywał się, czcigodny, sapiący i obrosły mchem, przy czym widzowie nie mogliby powiedzieć, czy on cierpi, śpi, pływa, znosi jajko lub tylko oddycha. Nikt nie budził we mnie takiej zazdrości jak on dla przywilejów, jakimi zdawał się cieszyć w tej łoży, oraz obojętności, z jaką pozwalał księżnej częstować się cukierkami; obejmowała go wówczas spojrzeniem swoich pięknych oczu wyciętych w diamencie, ogarniających go w tej chwili inteligencją i przyjaźnią. Oczy te, kiedy były spokojne, ograniczały się do swojej czystej materialnej piękności, do samego mineralnego blasku, ale o ile najmniejszy

<sup>100</sup>*à la* (fr.) — na sposób, w stylu. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista; autor m.in. komedii *Le Mari de la débutante* (*Mąż debiutantki*, 1879). [przypis edytorski]

odruch poruszył je lekko, rozpały głębie sali niehumanymi, horyzontalnymi i wspaniałymi ogniami.

Jednakże ponieważ akt *Fedry*, który grała Berma, miał się rozpocząć, księżna wysunęła się na przód łoża; wówczas, jak gdyby ona sama była teatralnym zjawiskiem, ujrzałem, iż w odmiennej strefie światła, którą przebyła, zmienia się nie tylko barwa, ale materiał jej strojów. I w łożu osuszonej, wyłonionej z oceanu, nienależącej już do świata wód, księżna, przestając być nereidą, ukazała się w białym i błękitnym turbanie niby jakaś cudowna tragiczka ukostiumowana na Zairę lub może na Orosmana<sup>103</sup>; po czym, kiedy usiadła w pierwszym rzędzie, ujrzałem, iż przytulne gniazdko alcjona, tkliwie chroniące różową perłową masę jej policzków, to był — mięciutki, lśniący i jedwabisty — olbrzymi rajski ptak.

Wśród tego oczy moje odciągnęła od łoża księżnej Marii kobieta drobna, źle ubrana, brzydka, z płomiennymi oczami, która w towarzystwie dwóch młodych ludzi siedła o kilka miejsc ode mnie. Potem kurtyna się podniosła. Nie bez melancholii stwierdziłem, że nic mi już nie zostało z dawniejszych nastrojów, kiedy to — aby nic nie stracić z nadzwyczajnego zjawiska, które byłbym pospieszył oglądać na koniec świata — trzymałem duszę w pogotowiu, niby owe czule klisze, które astronomowie instalują w Afryce, na Antylach, dla ścisłej obserwacji komety lub zaćmienia; kiedym drżał, aby jakaś chmura (niedyspozycja artystki, zachowanie się publiczności) nie przeszkodziła widowisku osiągnąć maksimum nasilenia; kiedy bym uważał, że nie oglądam go w najlepszych warunkach, gdybym się nie znalazł w tym właśnie teatrze, poświęconym jej na kształt ołtarza, do którego włączałem wówczas (mimo iż jako uboczną część jej zjawienia się pod czerwoną kotarą) mianowanych przez nią kontrolerów z białymi goździkami, podmurowanie nawy nad parterem pełnym ludzi źle ubranych, bileterki sprzedające program z jej fotografią, kasztaniarzy ze skweru, wszystkich tych towarzyszy, tych powierników moich ówczesnych wrażeń, którzy mi się zdawali od nich nieodłączni. *Fedra*, „scena oświadczyń”, Berma, wszystko to miało wówczas dla mnie rodzaj absolutnego istnienia. Pomieszczone poza bieżącym światem, zjawiska te istniały same przez siebie, trzeba mi było iść ku nim, aby z nich przeniknąć, ile się da, a otwierając na oścież oczy i duszę, jeszcze wchłonałbym bardzo mało. Ale jak życie wydawało mi się przyjemne! Czczotki dni, które pędziłem, nie miała żadnej wagi, niby chwile, w których się człowiek ubiera, gotuje do wyjścia, skoro poza tym istniały w sposób absolutny — dobre a trudno dostępne, niemożliwe do całkowitego posiadania — owe trwalsze realności, *Fedra*, gra Bermę. Nasycony tymi marzeniami o doskonałości sztuki dramatycznej, których można by wówczas wydobyć znaczną dawkę, gdyby się w owej dobie, o którejkolwiek minucie dnia, a może nocy, zanalizowało mój umysł, byłem niby stos Volty<sup>104</sup> wyladujący elektryczność. I przyszła chwila, w której, nawet będąc chory, nawet gdybym miał to przypłacić życiem, musiałem zobaczyć Bermę. Ale teraz, niby pagórek, który z daleka wydaje się z lazuru, a z bliska wsiąka w nasze pospolite widzenie przedmiotów, wszystko to opuściło świat absolutu i było już tylko rzeczą podobną do innych, którą przyjmowałem do świadomości, ponieważ byłem tam obecny; artyści byli ludźmi z tej samej materii co moi znajomi, starali się mówić możliwie najlepiej te wiersze z *Fedry*, które też nie były już wzniosłą i indywidualną, odrębną od wszystkiego istnością, ale mniej lub więcej udatnymi wierszami, gotowymi utonąć w olbrzymiej masie francuskich wierszy, z którymi się mieszały. Zniechęcenie moje było tym głębsze, że o ile przedmiot mojego upartego i czynnego pragnienia już nie istniał, w zamian za to wciąż istniała ta sama skłonność do opętania marzeniem, zmieniającym się z roku na rok, ale wiodącym mnie do nagłego wybuchu niedbającego na niebezpieczeństwa. Jakiś dzień, kiedy będąc chory, wybrałem się, aby oglądać w pewnym zamku obraz Elstira lub średniowieczny kobierzec, tak bardzo podobny był do dnia, gdy miałem jechać do Wenecji lub kiedym poszedł oglądać Bermę, lub pojechałem do Balbec, że z góry czułem, iż obecny przedmiot mojej ofiary zostawi mnie po niedługim czasie obojętnym, tak iż mógłbym wówczas przejeżdżać bardzo blisko, a nie wstąpić, aby obejrzeć ów obraz lub kobierzec, dla których byłbym się w danej chwili naraził na tyle bezsensownych nocy, na tyle bolesnych ataków choroby.

<sup>103</sup>*Zaira, Orosman* — bohaterowie tragedii Woltera *Zaire* (1732). [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*stos Volty* — ogniwo galwaniczne, wytwarzające prąd dzięki reakcjom chemicznym zachodzącym między elektrodą a elektrolitem, wynalazek Alessandra Volty. [przypis edytorski]

Oceniałem czczość swego wysiłku z niestałości jego przedmiotu, a równocześnie czułem jego ogrom, w który wprzód nie wierzyłem. Byłem jak owi neurastenicy, których zmęczenie zdwaja się, skoro im zwrócić uwagę, że są zmęczeni. Na razie zaduma moja dawała urok wszystkiemu, co się z nią mogło wiązać. I nawet w moich najbardziej cielesnych pragnieniach, zawsze zwracających się w pewną stronę, skupionych dokoła tego samego marzenia, jako pierwszą pobudkę mógłbym rozpoznać ideę, ideę, dla której poświęciłbym życie, a w której centralnym punkcie — jak w moich marzeniach w czasie popołudniowych lektur w ogrodzie w Combray — było pojęcie doskonałości.

Nie miałem już tej samej co niegdyś pobłażliwości dla trafnych akcentów tkliwości lub gniewu, jakie zauważyłem wówczas w deklamacji i w grze Arycji, Ismeny i Hipolita. Nie znaczy to, aby ci artyści — byli to ci sami co wtedy — nie starali się, wciąż z tą samą inteligencją, dać tu swemu głosowi intonacji pieśniodoty lub celowej dwuznaczności, ówdzie swoim gestom tragicznego dostojeństwa lub błagalnej słodyczy. Akcenty ich nakazywały temu głosowi: „Bądź słodki, śpiewaj jak słowik, pieść” lub przeciwnie: „Bądź wściekły”; wówczas rzucały się na ten głos, starając się porwać go swoją furią. Ale oporny głos pozostawał niewzruszenie ich naturalnym głosem, z jego materialnymi brakami lub urokami, z jego codzienną pospolitością lub przesadą, i tworzył zespół akustycznych lub socjalnych przejawów, których nie zmieniło poczucie recytowanych wierszy.

Toż sam gest tych artystów powiadał ich rękami, ich płaszczowi: „Bądźcie majestacytni”. Ale nieusłuchane członki pozwalały się — między ramieniem a łokciem — puszczyc bicepsom niemającym pojęcia o roli; nadal wyrażały błahość potocznego życia oraz wydobywały na światło, w miejsce Racine’owych<sup>105</sup> harmonii, węzły mięśniowe; draperia, którą podnosiły, opadała po linii pionowej, przy czym z prawami ciężkości walczyła jedynie martwa lekkość materii. W tej chwili damulka siedząca koło mnie wykrzyknęła:

— Ani jednego brawa! I jak ona się wysztafirowała! Ależ ona jest za stara, już nie może; w takich razach nie trzeba się upierać!

Wobec psykań publiczności dwaj młodzi ludzie, którzy towarzyszyli tej pani, starali się ją uspokoić; jakoż wściekłość jej wyrażała się już tylko oczami. Wściekłość ta mogła zresztą godzić jedynie w powodzenie, w sławę, bo Berma, która zarabiała tyle pieniędzy, miała tylko długi. Naznaczając wciąż zawodowe lub przyjacielskie spotkania, na które się nie mogła stawić, wysyłała na wszystkie strony groomów<sup>106</sup> biegających, aby ją usprawiedliwić; w hotelach miała pozamawiane apartamenty, z których nigdy nie korzystała; oceany perfum dla kąpania suczek, ciężar odszkodowań płaconych wszystkim dyrektorom. W braku kosztów znaczniejszych a mniej rozkoszliwych niż wydatki Kleopatry, potrafiłaby strwonić prowincje i królestwa na telegramy i dorożki. Ale owa damulka to była aktorka, której się nie powiodło w karierze i która powzięła śmiertelną nienawiść do Berny.

Berma weszła właśnie na scenę. I wówczas, o cudzie! jak owe lekcje, których obkuwaniem wyczerpaliśmy się do szczytu wczoraj wieczór, a które odnajdujemy w sobie umiane na pamięć, kiedyśmy się przespali; jak owe twarze zmarłych, które ścigaliśmy namiętnym wysiłkiem pamięci, nie mogąc ich odnaleźć, a które — kiedy już o nich nie myślimy — jawią się przed naszymi oczami, ludzako żywe, tak talent Berny, który uciekał przede mną, kiedyśmy się silił pochwycić jego istotę, teraz, po latach zapomnienia, w tej godzinie obojętności, narzucał się z całą oczywistością memu podziwowi. Niegdyś, starając się wyodrębnić ten talent, potraçałem niejako z tego, com słyszał, samą rolę — rolę, wspólną własność wszystkich aktorek grających Fedrę — którą przestudiowałem z góry, aby ją wyeliminować, aby zebrać jako resztę jedynie talent Berny. Ale ten talent, który starałem się uchwycić poza rolę, stapiał się z nią w jedno. Tak jak gra wielkiego muzyka (zdaje się, że tak było u Vinteuila, kiedy grał na fortepianie) jest grą tak wielkiego pianisty, że nawet się już nie wie, czy ten artysta jest w ogóle pianistą, ponieważ (nie narzucając całego aparatu wysiłków mięśniowych, tu i ówdzie uwieńczonych świetnym efektem, całego tego prysznicu nut, w którym słuchacz, nie wiedząc, czego się trzymać, sądzi bodaj, że znalazł talent w jego fizycznej rzeczywistości, dotykalny) ta gra stała się przejrzysta, tak nasyciona tym, co odtwarza, że już się jej samej nie widzi, jest tylko oknem

<sup>105</sup>Racine, *Jean Baptiste* (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>grum a. groom (ang.) — chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]



na arcydzieło. Mogłem rozpoznać intencje okalające niejako majestatycznym lub subtelnym szlakiem głos i mimikę Arycji, Ismeny, Hipolita; ale Fedra wcieliła je w siebie, tak że moja świadomość nie mogła już oderwać od dykcji i od póż, nie mogła w oszczędnej prostocie ich gładkich powierzchni dostrzec owych odkryć, owych efektów, które nie przekraczały tych intencji, tak głęboko były w nich zawarte. Głos Bermy, w którym nie istniała już żadna resztką bezczulej i odpornej duchowi materii, nie pozwalał dostrzec dokoła niej tego nadmiaru łez, które widziało się spływające po marmurowym głosie Arycji i Ismeny, ponieważ nie mogły w ten głos wsiąknąć; jej głos był delikatnie spulchniony w swoich najdrobniejszych komórkach, niby instrument wielkiego skrzypka, u którego, kiedy się mówi, że ma piękny ton, chwali się nie fizyczną właściwością, ale bogactwo duszy; i niby w antycznym krajobrazie, gdzie w miejsce nimfy, która pierzchła, znajduje się nieożywione źródło, rozpoznawalna i konkretna intencja zmieniała się tu w jakąś właściwość dźwięku, o czystości idealnie dostrojonej i zimnej. Ramiona Bermy, które sam wiersz — tą samą emisją, która wyrzucała głos z jej ust — podnosił na jej piersi niby liście poruszane spływaniem wody; poza jej, którą stworzyła sobie pomału i którą miała zmienić jeszcze, powstała z refleksji o ileż głębszych niż te, których ślad spostrzegało się w gestach jej koleżanek, ale z refleksji, co straciwszy swój świadomy początek, stopione w jakimś promieniowaniu dokoła osoby Fedry, wprawiały w drganie bogate i złożone składniki, które urzeczony widz brał nie za zdobycz artysty, lecz za element życia; same te białe zasłony, wycieńczone i wierne, zdawały się żywą materią, jak gdyby były utkane przez na wpół pogańskie, na wpół jansenistyczne<sup>107</sup> cierpienie, dokoła którego kurczyły się na kształt kruchego i zziębniętego kokona; wszystko to, głos, pozy, gesty, zasłony, tworzyły jedynie dodatkowe powłoki dokoła tego ciała myśli, jakim jest wiersz (ciała, co na wspaniałym ciałem ludzkim nie jest dla duszy ciemną zaporą, niepozwalającą jej spostrzec, ale jest niby oczyszczona i ożywiona szata, w której się ona rozpuszcza i gdzie się ją odnajduje). Owe powłoki zamiast ukrywać tę myśl uwydatniały wspaniałe duszę, która sobie przyswoiła te wiersze i która się w nich rozlała; były jedynie stopem różnych substancji, obecnie przezroczystych, których nawarstwienie bogaciej jedynie odbija uwięziony w nich centralny promień, przechodzący je na wskroś i czyniący rozciąglejszą, cenniejszą i piękniejszą nasyoną płomieniem materię, którą jest spowity. W ten sposób kreacja Bermy tworzyła dokoła dzieła drugie dzieło, również ożywione geniuszem.

Moje wrażenie — szczerze mówiąc, miłsze od dawniejszego — nie było odmienne. Jedynie nie konfrontowałem go już z uprzednim abstrakcyjnym i fałszywym pojęciem geniuszu dramatycznego; rozumiałem, że geniusz dramatyczny to właśnie to. Myślałem przed chwilą, że jeżeli nie czuł przyjemności za pierwszym razem, kiedy słyszał Bermę, to dlatego że, jak niegdyś, kiedy ujrzał Gilbertę na Polach Elizejskich, zbliżałem się do niej z nazbyt wielkim upragnieniem. Między tymi dwoma zawodami istniało może nie tylko to jedno podobieństwo, ale także inne, głębsze. Wrażenie, jakie na nas sprawia dana osoba, dane dzieło (lub interpretacja) o silnie zarysowanej odrębności, ma coś swobodnego. Przynieśliśmy z sobą pojęcie „piękna”, „szerokości stylu”, „patetyczności”, których moglibyśmy się od biedy dopatrzeć w banalności jakiegoś poprawnego talentu lub twarzy; ale tu nasz wyczekujący duch spotyka się z naciskiem formy, której równoważnika intelektualnego nie posiada, z której trzeba mu wydobyć nieznanne. Słyszy ostry dźwięk, dziwnie pytającą intonację. Zastanawia się: „Czy to, czego doznaję, jest piękne? Czy to jest podziw? Czy to jest bogactwo kolorytu, szlachetność, siła?”. I odpowiada mu na nowo ostry głos, dziwnie pytający ton, despotyczne wrażenie wywołane przez nieznaną nam, całkowicie materialną istotę, w której nie zostało żadnego marginesu na „szerokość interpretacji”. I dlatego dzieła naprawdę piękne, jeżeli ich szczerze słuchamy, muszą nam sprawiać największy zawód, ponieważ w zbiorze naszych pojęć żadne nie odpowiada wrażeniu indywidualnemu.

Tego właśnie dowodziła mi gra Bermy. Tak, to było to — szlachetność, inteligencja dykcji. Teraz zdawałem sobie sprawę z walorów szerokiej, poetycznej, potężnej interpretacji; lub raczej to było coś, czemu zgodzono się dawać te przydomki, ale tak jak się daje miano Marsa, Wenery, Saturna gwiazdom niemającym nic mitologicznego. Czuj-

<sup>107</sup>jansenistyczny — taki jak w jansenizmie, katolickim ruchu duchowo-teologicznym funkcjonującym we Francji w XVII–XVIII w., inspirowanym pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej. [przypis edytorski]

my w jednym świecie, a myślimy i nazywamy w drugim; możemy ustalić między nimi zgodność, ale nie możemy zapełnić dzielącej ich przestrzeni. To bardzo mało ta przestrzeń, ta szczelina, którą musiałem przebyć pierwszy raz, widząc i słysząc Bermę, kiedy, wysłuchawszy jej z całym napięciem, z niejakim trudem siłilem się wrócić do swoich pojęć o „szlachetnej interpretacji”, o „oryginalności”; wybuchłem oklaskami dopiero po chwili pustki i tak jakby się one zrodziły nie z samego mojego wrażenia, ale jakbym je wiązał do swoich uprzednich pojęć, do przyjemności, jaką znajdowałem w tej myśli: „Słyszę wreszcie Bermę”. I ta sama różnica, jaka istnieje między jakąś osobą lub silnie indywidualnym dziełem a pojęciem piękności, istnieje w nie mniejszym stopniu między zbudzonymi przez nie uczuciami a pojęciem miłości i podziwu. Toteż nie poznaje się ich. Nie odczułem przyjemności, słysząc Bermę (tak samo jak nie odczuwałem jej niegdyś, widząc Gilbertę). Powiedziałem sobie: „Zatem nie podziwiam jej”. Ale myślałem wówczas jedynie o tym, aby zgłębić grę Bermy, byłem pochłonięty tylko tym, starałem się otworzyć swoją myśl możliwie najszerzej, aby przyjąć całą zawartość tej gry. Rozumiałem teraz, że to właśnie znaczyło: podziwiać.

Ów geniusz, którego gra Bermy była tylko objawieniem, czy to był tylko geniusz Racine’a?

Tak zrazu myślałem. Miałem wyjść z błędu po skończeniu aktu *Fedry*. W czasie owacji publiczności stara aktorka, wściekła, prężąc swoją drobną postać, siedząc bokiem z martwą twarzą, skrzyżowała ręce na piersiach, aby pokazać, że nie wtóruje oklaskom, aby jaskrawiej uwydatnić protest, w jej poczuciu sensacyjny, a w istocie niezauważony przez nikogo. Następną sztuką to była nowość z gatunku tych, które niegdyś zdawały mi się dla braku rozgłosu błahę, przemijające, jako że pozbawione pozascenicznego istnienia. Ale nie miałem, jak przy utworze klasycznym, tego zawodu, iż wieczność arcydzieła zajmuje jedynie długość rampy oraz czas spektaklu, w którym odmawia się je niby okolicznościową modlitwę. Następnie w każdej tyradzie, przy której czułem, że ją publiczność lubi, i która miała być kiedyś sławna, niedostatek jej sławy w przeszłości uzupełniałem sławą, jaką uzyska w przyszłości. Był to wysiłek myśli odwrotny do tego, który polega na wyobrażeniu sobie arcydzieła w chwili jego nikłych narodzin, kiedy jego tytuł, nigdy jeszcze niesłyszany, nie zapowiadał, iż znajdzie się kiedyś stopiony w tym samym świetle, obok tytułów innych dzieł autora. I że ta rola znajdzie się kiedyś na liście najpiękniejszych ról Bermy, obok roli Fedry. Nie iżby sama w sobie sztuka posiadała jakąś wartość literacką; ale Berma była w niej równie wspaniała jak w *Fedrze*. Zrozumiałem wówczas, że dzieło pisarza jest dla aktorki tylko materiałem — niemal obojętnym w sobie — dla stworzenia arcydzieła interpretacji, tak jak wielki malarz, którego poznałem w Balbec, Elstir, dla dwóch jednak pięknych obrazów znalazł temat w banalnym budynku szkolnym i w katedrze, która jest sama przez się arcydziełem. I jak malarz rozpuszcza dom, wóz, osoby w fali światła, która je stapia w jedno, tak Berma rozpościerała szerokie całuny grozy, tkliwości na słowach stopionych w jedność, wszystkich jednak zmatowanych lub podciągniętych, a które mierna artystka byłaby wygrywała kolejno, jedno po drugim. Bez wątpienia, każde z nich miało własny akcent i dykcja Bermy nie przeszkadzała czuć w nich wiersza. Czyż to nie jest już pierwszy element uporządkowanej złożoności, to znaczy piękna, kiedy słysząc rym — to znaczy coś, co jest zarazem jednakie i inne niż rym poprzedzający, umotywowane tamtym, ale wnoszące weń różnorodność nowego pojęcia — czujemy dwa wznoszące się na sobie systemy, jeden myślowy, drugi metryczny? Ale Berma wprowadzała słowa, nawet wiersze, nawet „tyrady” w obszerniejsze od nich zespoły; cudowne było widzieć, jak na ich granicy muszą się zatrzymać, przerwać sobie; tak poeta znajduje przyjemność w tym, aby zawiesić na chwilę przed rymem słowo mające wzlecieć, a muzyk, aby spleść rozmaite słowa tekstu we wspólnym rytmie, który je gwałci i porywa. Tak, w dialog nowoczesnego autora czy w wiersze Racine’a Berma umiała wprowadzić owe szerokie obrazy bólu, dostojeństwa, namiętności, będące jej własnym arcydziełem, i w których poznawało się ją, tak jak poznaje się malarza w portretach malowanych z rozmaitych modeli.

Nie byłbym już pragnął, jak niegdyś, unieruchomić póż Bermy, pięknego kolorystycznego efektu, jaki stwarzała przez chwilę tylko w przelotnym i niepowracającym oświetleniu, ani też kazać jej sto razy powtarzać jednego wiersza. Rozumiałem, że moje

dawniejsze pragnienie było bardziej wymagające niż wola poety, aktorki, wielkiego artysty dekoratora i że ten urok rozlany błyskawicznie na jakimś wierszu, te wciąż zmieniające się i nieuchwytnie pozy, te kolejne obrazy to był ulotny rezultat, doraźny cel, ruchome arcydzieło, które zakłada sobie sztuka teatralna, a które uwaga zbyt gorliwego miłośnika zniweczyłaby, siłąc się je utrwalić. Nie zależało mi nawet na tym, aby jeszcze kiedyś znów usłyszeć Bermę; byłem nią nasycony; niegdyś, kiedyś zanadto podziwiał, tym samym będąc skazany na zawód (czy przedmiotem podziwu była Gilberta, czy Berma), z góry od jutrzejszego wrażenia żądałem rozkoszy, jakiej mi nie dało wrażenie wczorajsze. Nie starając się zgłębić doznanej radości, z której dałoby się może uczynić płodniejszy użytek, powiadałem sobie, jak kiedyś jeden z moich kolegów: „Nie ma co, Bermie daję piątkę”, czując mglisto, że ten wyraz mojego wyboru i to pierwsze miejsce, mimo całego ukojenia, jakie mi przynosi, nie tłumaczą może zbyt dokładnie talentu Bermy.

W chwili gdy się zaczęła druga sztuka, spojrzałem w stronę łoży pani de Guermantes. Ruchem rodzącym rozkoszną linię, którą duch mój ścigał w próżni, księżna Maria zwróciła głowę w głąb łoży. Goście jej stali, zwróceni również w głąb; w szpalerze, jaki tworzyli, zjawiła się, ze spokojem i majestatem bogini, ale z nieznaną słodyczą, zrodzoną stąd, że swoim spóźnieniem niepokoi wszystkich w pełni spektaklu — kojarząc białe musliny, w które była spowita, oraz sprytnie naiwną, nieśmiałą i zawstydzoną minkę ze zwycięskim uśmiechem — zjawiła się księżna Oriana de Guermantes. Podszedłszy do swojej kuzynki, złożyła głęboki ukłon młodemu blondynowi siedzącemu na przedzie, po czym, obracając się do morskich i świętych potworów bujających w głębi grotty, rzuciła tym półbogom z Jockey Clubu<sup>108</sup> (którym w tej chwili, zwłaszcza panu de Palancy, najbardziej zazdrościłem) poufale przywitanie starej przyjaciółki, wyraz codziennych stosunków od lat piętnastu. Odczuwałem tajemnicę, ale nie mogłem odcyfrować zagadki tego uśmiechniętego spojrzenia, lśniącego błękitnym blaskiem, podczas gdy księżna podawała kolejno rękę przyjaciołom: gdybym umiał rozłożyć jego pryzmat, zanalizować krystalizację, zdradziłoby mi może istotę nieznanego życia, odbijającego się w nim w tej chwili. Książę Błażej szedł za żoną, przy czym błyski monokla, śmiech uzębienia, białość goździka lub plisowanego gorsu rozsuwały jego brwi, wargi, frak, aby zyskać miejsce dla swego blasku; gestem wyciągniętej ręki, którą prostopadle, nie ruszając głową, opuścił na ramiona podrzędnych i czyniących mu miejsce potworów, nakazał im usiąść i skłonił się głęboko przed młodym blondynem. Można by rzec, iż księżna Oriana odgadła, że kuzynka, w której wyśmiewała to, co nazywała przesadą (miano, jakie z jej dowcipnie francuskiej i arcyumiarkowanej perspektywy, łatwo zyskiwał germański entuzjazm i sentymentalizm), włoży tego wieczoru jedną z toalet, które księżna nazywała „operą”, i że chciała jej dać lekcję gustu. Zamiast cudownych i miękkich piór, które spływały z głowy księżnej Marii na szyję, w miejsce jej siatki z muszelek i pereł, księżna Oriana miała we włosach tylko prostą egretkę<sup>109</sup>, która, stercząc nad jej orlim nosem i wypukłymi oczami, robiła wrażenie ptasiego czuba. Szyja i ramiona wylały się ze śnieżnej fali muslinu, którą muskał wachlarz z piór łabędzich; ale dalej suknia, której stanik miał za jedyną ozdobę niezliczone pajątki<sup>110</sup> (to z metalowych pręcików i ziarenek, to z brylantów), otulała jej ciało z iście brytyjską dokładnością. Ale, mimo iż toalety obu kobiet były tak różne, skoro księżna Maria oddała kuzynce krzesło, które zajmowała dotąd, zwróciły się ku sobie, podziwiając się wzajem.

Może księżnej Orianie zdarzy się nazajutrz uśmiechnąć, kiedy będzie mówiła o skomplikowanej nieco fryzurze księżnej Marii, ale z pewnością oświadczy, że była czarująca i cudownie „zaaranżowana”; a księżna Maria, która, na swój gust, znajdowała coś zbyt chłodnego i oschłego, zbyt krawieckiego w sposobie ubierania się kuzynki, odkryje w tej surowości uroczą wytworność. Zresztą harmonia będąca między nimi oraz ogólne tendencje ich wychowania neutralizowały kontrast nie tylko stroju, ale i wzięcia<sup>111</sup>. W tych niewidzialnych i magnetycznych liniach, jakie rozpinał między nimi wykwiłt manier, zamierała ekspansywna natura księżnej Marii, gdy prostoliniwność księżnej Oriany gięła się

<sup>108</sup>Jockey Club (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>egretka — kitka z piór na kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>pajętka (z fr.) — cekin, cienka błyszcząca blaszka mocowana do ubrania jako ozdoba. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

w ich przyciąganiu, stawiała się słodyczą i wdziękiem. Tak jak w sztuce, oglądanej właśnie w tej chwili, na to, aby zrozumieć, ile własnej jej poezji promieniowało z Bermy, wystarczyłoby powierzyć rolę, którą grała (i którą ona jedna mogła grać), jakiegokolwiek innej aktorce, tak widz, który by podniósł oczy na balkon, ujrzałby w dwóch łóżach, jak fryzura mająca niby to przypominać księżnę Marię daje baronowej de Morienvał jedynie wygląd ekscentryczny, pretensjonalny i pospolity, cierpliwy zaś i kosztowny wysiłek w tym, aby naśladować toalety i szyk księżnej Oriany, czyni panią de Cambremer podobną do jakiejś prowincjonalnej pensjonarki, osadzonej jak na drucie, prostej, suchej i kanciastej, z karawaniarskim pióropuszem tkwiącym pionowo we włosach. Może jej miejsce nie było w tej sali, gdzie łoże wypełnione najświetniejszymi kobietami sezonu (nawet łoże najwyższych pięter, które z dołu wydawały się niby wielkie kosze obsadzone ludzkimi kwiatami i przywiązane do sufitu czerwonymi aksamitnymi wstęgami) tworzyły ulotną panoramę, którą miały niebawem zmienić śmierć, skandale, choroby i zwady, ale która w tej chwili była stężała uwagą, upałem, zawrotem głowy, kurzem, elegancją i nudą, w tej wiekuiściej i tragicznej chwili nieświadomego oczekiwania i spokojnego odrętwienia, później, wstecz, robiącego wrażenie takie, jakby poprzedzało wybuch bomby lub pierwszy błysk pożaru.

Racją, dla której pani de Cambremer znajdowała się tutaj, było to, że księżna Parmy, wolna od snobizmu jak większość prawdziwych „wysokości”, w zamian zaś pożerana dumą i żądzą dobroczynności (żądza ta dorównywała u niej namiętności do tego, co uważała za Sztukę), ustąpiła kilku łóż osobom takim jak pani de Cambremer, osobom nienależącym do najwyższego świata, ale pozostającym w stosunkach z księżną na terenie filantropii. Pani de Cambremer nie spuszczała z oczu księżnej Oriany i księżnej Marii, co jej przychodziło tym łatwiej, że nie znając ich osobiście, nie mogła budzić podejrzeń, iż żebrze o ukłon. Bywać u tych wielkich dam było wszelako celem, który ścigała od dziesięciu lat z niestrudzoną cierpliwością. Obliczyła, że osiągnęłyby to z pewnością za lat pięć. Ale dotknięta nieubłaganą chorobą, której groźny charakter znała, mając pewne pretensje do wiedzy medycznej, bała się, że nie pożyje tak długo. Tego wieczora była przynajmniej szczęśliwa, myśląc, iż wszystkie te damy, których prawie nie znała, ujrzą w jej łoży jednego ze swoich przyjaciół, młodego margrabiego de Beausergeant, brata pani d'Argencourt, który bywał po równi w obu towarzystwach i którego obecnością kobiety z „drugiej klasy” lubiły się stroić w oczach kobiet z pierwszej. Siedział za panią de Cambremer na krześle ustawionym w poprzek, tak aby móc lornetować inne łoże. Znał tam wszystkich i kłaniając się z cudowną elegancją zgrabnej i wciętej figury, wytwornej głowy blond, na wpół podnosił się, wyprostowany, z uśmiechem w błękitnych oczach, z odcieniem niedbałego szacunku, rytując w ten sposób z precyzją w romboidalnej ramie łoży niby jakiś stary sztych przedstawiający dumnego i dwornego młodego pana. Bywał często w łoży pani de Cambremer; na sali oraz przy wyjściu, w przedśionku, stał koło niej mężnie w ciżbie świetniejszych przyjaciółek, do których strzegł się odezwać, nie chcąc ich wprawiać w kłopot, tak jakby był w podejrzanym towarzystwie. Jeżeli wówczas przechodziła księżna Maria, piękna i lekka jak Diana<sup>112</sup>, wlokąc za sobą nieporównany płaszcz, zwracając ku sobie wszystkie głowy i ściągając wszystkie oczy (oczy pani de Cambremer bardziej od innych), pan de Beausergeant zatapiał się w rozmowę ze swoją sąsiadką, na przyjazny zaś i olśniewający uśmiech księżnej odpowiadał jedynie z przymusem, z taktowną wstrzeźliwością i miłosiernym chłodem człowieka, którego uprzejmość mogłaby się stać w danej chwili kłopotliwa.

Gdyby nawet pani de Cambremer nie wiedziała, że łoża należy do księżnej Marii, odgadła by i tak, że księżna Oriana jest gościem, z większego zainteresowania, z jakim przez uprzejmość dla gospodyni śledziła widowisko i salę. Ale równocześnie z tą siłą odśrodkową inna, przeciwna siła, wzbudzona tym samym pragnieniem uprzejmości, ściągała uwagę księżnej Oriany na jej własną toaletę, na jej egretkę, naszyjnik, stanik, a także na toaletę samej księżnej Marii; zdawała się głośić wasalką swojej kuzynki, jej poddana, przybyła tu jedynie po to, aby ją podziwiać, gotową pospieszyć za nią gdzie indziej, o ile by właścicielce łoży przysłała ochota opuścić teatr; reszta sali była dla niej niby gromadka obcych, interesujących do oglądania, mimo że księżna Oriana liczyła tam wiele przyja-

<sup>112</sup>Diana (mit. rzym.) — dziewicza bogini łowów i księżycy. [przypis edytorski]

ciół, w których łóżach bywała w inne dni i wobec których rozwijała wówczas ten sam wyłączny, fakultatywny i periodyczny lojalizm.

Pani de Cambremer zdziwiła się, widząc księżnę Orianą tego wieczora. Wiedziała, że zazwyczaj pozostaje bardzo długo w Guermites, i myślała, że bawi tam jeszcze. Ale opowiadano jej, że czasami, kiedy było w Paryżu jakieś interesujące przedstawienie, księżna, ledwo wypiwszy herbatę w towarzystwie myśliwych, kazała zaprzęgać i o zachodzie słońca jechała ostrym kłusem przez mroczny las, a potem drogą, aby złapać pociąg w Combray i być w Paryżu wieczorem. „Może przyjechała umyślnie z Guermites, aby widzieć Bermę” — myślała z podziwem pani de Cambremer. I przypominała sobie, jak czasem Swann mówił w owej nieuchwytniej gwarze, którą dzielił z panem de Charlus: „Księżna Oriana to jedna z najszlachetniejszych istot w Paryżu, z najbardziej wyrafinowanej, najrzadszej elity”.

Co do mnie, który z nazwisk Guermites, Bavière oraz z nazwiska Conde wywodziłem życie i myśl dwóch kuzynek (nie mogłem już z tych nazwisk wywodzić ich twarzy, skoro je widziałem), byłbym wołał znać ich sąd o *Fedrze* niż sąd największego krytyka w świecie. Bo w jego sądzie znalazłbym tylko inteligencję — wyższą od mojej, ale tej samej natury. Ale to, co myślała księżna Maria i księżna Oriana i co by mi dostarczyło nieoszacowanego dokumentu dotyczącego tych dwóch poetycznych stworzeń, wyobrażałem sobie przy pomocy ich nazwisk, przeczuwałem w tym irracjonalny czar; z pragnieniem i nostalgią człowieka w gorączce spodziewałem się od ich opinii o *Fedrze*, że mi ona wróci urok owych letnich popołudni, kiedy się przechadzałem w stronie Guermites.

Pani de Cambremer próbowała odcyfrować toalety dwóch kuzynek. Co do mnie, nie wątpiłem, że owe toalety są im właściwe, odrębne, nie tylko w tym sensie, w jakim liberia z czerwonym kołnierzem lub z niebieskim rabatem należała niegdyś wyłącznie do domu Guermites lub Conde, ale raczej jak dla ptaka upierzenie, będące nie tylko ozdobą, ale dalszym ciągiem jego ciała. Strój tych dwóch istot zdawał mi się niby śnieżna lub mieniąca się barwami materializacja ich duchowej energii, i tak jak gesty księżnej Marii odpowiadały dla mnie jakiejś ukrytej idei, tak pióra spływające z jej czoła oraz olśniewający pajetkami stanik jej kuzynki zdawały się coś wyrażać, tworzyć dla każdej z tych kobiet wyłącznie jej przynależne godło, którego sens chciałbym poznać: rajski ptak zdawał mi się nieodłączny od księżnej Marii niby paw Junony<sup>113</sup>, nie przypuszczałem zaś, aby inna kobieta mogła sobie usurpować błyszczący stanik Oriany, nie bardziej niż lśniącą i oszytą frędzlami tarczę Minerwy<sup>114</sup>. I kiedy obracałem oczy na tę łożę, miałem wrażenie — o wiele bardziej, niż gdy spojrział na sufit sali wyobrażający zimne alegorie — że dzięki cudownemu rozdarciu tradycyjnych chmur oglądam zebranie bogów przyglądających się widowisku ludzi pod czerwoną kotarą, w promiennym oknie lazuru, między dwoma filarami nieba. Patrzyłem na tę chwilową apoteozę<sup>115</sup> ze wzruszeniem, kojony przez uczucie, że Nieśmiertelni nic o mnie nie wiedzą; księżna Oriana widziała mnie raz, jadąc z mężem, ale z pewnością tego nie pamięta; nie bolało mnie, że ona dzięki swemu miejscu w łoży patrzy na bezimienne i zbiorowe ławice publiczności w krzesłach, bo czułem szczęśliwie istność swoją roztopioną w tej masie.

Nagle mocą praw refrakcji<sup>116</sup> odbiła się widocznie w nieczułym strumieniu tych dwojga niebieskich oczu mętna forma nieistniejącego indywidualnie pierwotniaka (niby mnie); ujrzałem, że te oczy rozświeca jasność: z bogini zmieniwszy się w kobietę i stawszy się nagle dla mnie tysiąc razy piękniejsza, księżna Oriana podniosła ku mnie rękę w białej rękawiczce, dotąd opartą o krawędź łoża, i potrząsnęła nią przyjaźnie; równocześnie spojrzenia moje olśnił swoim mimowolnym blaskiem ogień źrenic księżnej Marii, która wznieciła w nich bezwiednie pożar, jedynie poruszając oczami, aby sprawdzić, z kim wita się jej kuzynka, gdy ta, poznawszy mnie, spuściła na mnie błyszczącą i niebiańską ulewę swego uśmiechu.

<sup>113</sup>*Junona* (mit. rzym.) — bogini kobiet, małżeństwa i macierzyństwa, żona Jowisza; jej świętym ptakiem był paw. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>*Minerwa* (mit. rzym.) — bogini mądrości i wojny sprawiedliwej, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>*apoteoza* (gr.) — ubóstwienie. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>*refrakcja* — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

Obecnie co rano, o wiele przed godziną spaceru księżnej Oriany, szedłem okrężną drogą, na róg ulicy, którą zazwyczaj chodziła, kiedy zaś zbliżał się moment jej prawdopodobnego zjawienia się, wracałem z roztargnioną miną, patrząc w przeciwną stronę i podnosząc oczy na księżnę z chwilą, gdy ją mijalem, ale tak jak gdybym zgoła nie spodziewał się tego widoku. W pierwszych dniach nawet, aby być pewniejszym spotkania, czekałem na nią przed domem. I za każdym razem, kiedy się brama otwierała (przepuszczając kolejno tyle osób niebędących tą, której oczekiwałem), łoskot bramy przedłużał się potem w moim sercu w drganiach długo niemogących się ukoić. Bo nigdy nieznanym wielbiciel wielkiej aktorki wyczekujący jej pod „wyjściem artystów”, nigdy zajadły lub bałwochwalczy tłum zebrany, aby znieważać skazańca lub obnosić w triumfie wielkiego człowieka, których zjawienie się odgaduje za każdym hałasem rozlegającym się z wnętrza więzienia lub pałacu, nie był tak wzruszony jak ja, gdym oczekiwał wyjścia tej wielkiej damy, która, w skromnej toalecie, wdziękiem swego chodu (całkiem różnego od kroku, jakim wchodziła do salonu lub łoża) umiała ze swojej rannej przechadzki — dla mnie w całym świecie jedynie ona się przechadzała! — zrobić cały poemat elegancji, najsubtelniejszą strojność, najosobliwszy kwiat pogody.

Ale po trzech dniach, nie chcąc, aby odźwierny spostrzegł mój manewr, zacząłem chodzić znacznie dalej, aż do jakiegoś punktu zwyczajnej drogi księżnej. Często przed owym wieczorem w teatrze robiłem takie wypadki przed śniadaniem, kiedy było ładnie; jeżeli padał deszcz, za pierwszym przetarciem się nieba spieszyłem przejść się nieco; i nagle na mokrym jeszcze chodniku zmienionym przez światło w złotą laskę, w apoteozie placyku rozpylonego mgłą, którą wyprawia i rozjaśnia słońce, spostrzegałem pensjonarkę idącą w towarzystwie nauczycielki lub mleczarkę w białych rękawach i stałem chwilę bez ruchu, z ręką na sercu, które już wydierało się ku obcemu życiu; starałem się przypomnieć sobie ulicę, godzinę, bramę, gdzie dziewczynka (za którą szedłem czasami) zniknęła, aby się nie zjawić więcej. Szczęściem, ulotność tych lubych obrazów, któremu sobie przyrzekałem odszukać jeszcze, nie pozwalała utrwalić się im mocno w moim wspomnieniu. Ale i tak mniej smutno odczuwałem to, że jestem chory i że nie miałem jeszcze dotąd siły wziąć się do pracy, zacząć pisać książkę; ziemia zdawała mi się mieszkalniejsza, życie bardziej interesujące, od czasu jak widziałem, że ulice Paryża — tak samo jak ulice Balbec — zakwitają owymi nieznanymi pięknosciami, które tak często starałem się wyczarować z lasów Méséglise, a z których każda budziła we mnie rozkoszne pragnienie, jedynie ona — tak mi się zdawało — zdolna je ukoić.

Wracając z Opery, przydałem na dzień następny do istot, które od kilku dni pragnąłem odnaleźć, obraz księżnej Oriany: dużej, z wysoką fryzurą jasnych i lekkich włosów, z tkliwą obietnicą zawartą w uśmiechu, jakim mnie obdarzyła z łoża kuzynki. Postanowiłem iść drogą, którą (jak mi mówiła Franciszka) chodziła księżna, starając się jednak nie zaniedbać godziny pensji i ćwiczeń duchownych, aby spotkać dwie ujrzone przedwczoraj panienki. Ale podczas gdy czekał, błyszczący uśmiech księżnej Oriany, wrażenie jego słodczy jawiły się od czasu do czasu w mojej pamięci. I nie bardzo wiedząc, co czynię, próbowałem pomieścić księżnę (jak kobieta przymierza do sukni garnitur kosztownych guzików, który właśnie dostała) obok moich dawnych romantycznych idei wyzwolonych we mnie przez chłód Albertyny, przedwczesny wyjazd Gizeli, dawniej przez dobrowolną i zbyt długą rozłąkę z Gilbertą (na przykład marzenie o miłości kobiety, o wspólnym z nią życiu); potem przymierzałem do tych myśli obraz jednej lub drugiej z dwóch spotkanych dziewcząt; tuż potem starałem się dostroić do tych pojęć wspomnienie księżnej. W obliczu tych myśli wspomnienie pani de Guermantes w Operze było drobniakiem, małą gwiazdką przy długim ogonie jej błyszczącej komety; co więcej, znałem dobrze te uczucia, zanim poznałem panią de Guermantes, podczas gdy, przeciwnie, wspomnienie jej posiadałem bardzo niedoskonale; wymykało mi się chwilami. W ciągu tych godzin, kiedy, z obrazu bujającego we mnie po równi z obrazami innych ładnych kobiet, przeszło ono pomału w stan jedynego i ostatecznego stopienia się — z wyłączeniem wszelkiego innego obrazu kobiety — z moimi romantycznymi ideami o tyle odeń wcześniejszymi — w ciągu tych kilku godzin, kiedy je sobie przypominałem najlepiej, powinienem był dokładnie sprawdzić, czym ono było. Ale nie znałem wówczas ważności, jakiej wspomnienie to miało nabrać; było jedynie słodkie jak pierwsza schadzka z księżną we mnie samym; było pierwszym szkicem — jedynym prawdziwym, jedynym zdjętym z natury, jedynym,

który był naprawdę panią de Guermantes. I tylko przez kilka godzin, przez które miałem szczęście przechowywać owo wspomnienie, nie umiając na nie zwracać uwagi, musiało ono być bardzo urocze, skoro zawsze — jeszcze swobodnie w owej chwili, bez pośpiechu, bez zmęczenia, bez przymusu lub onieśmielenia — wracały do niego moje myśli o miłości; później, w miarę jak te myśli utrwaliły je ostateczniej, wspomnienie to zaczerpnęło z nich większą siłę, ale stało się jakby mglistsze. Niebawem nie umiałem go już odnaleźć i w marzeniach swoich zniekształcałem je zapewne całkowicie, bo za każdym razem, kiedy widział panią de Guermantes, stwierdzałem rozdźwięk — zawsze zresztą odmienny — między tym, com wyroił, a tym, co widziałem. Zapewne, za każdym razem teraz, w chwili gdy pani de Guermantes zjawiała się na ulicy, spostrzegałem jeszcze jej wysoką postać, jej jasne spojrzenie pod lekkimi włosami, wszystkie te szczegóły, dla których byłem tutaj; ale w zamian w kilka sekund później, kiedy zwróciwszy oczy w innym kierunku, iżby nie wyglądało, żem się spodziewał tego spotkania, podnosiłem je na księżną, mijając ją, widziałem czerwone plamki — nie wiadomo wskutek wiatru czy spryszczenia skóry — na niechętej twarzy, która znakiem suchym i bardzo odległym od uprzejmości owego wieczora w teatrze, odpowiadała na mój ukłon, składany co dzień ze zdziwioną miną, a najwidoczniej nieprzypadający jej do smaku. Jednakże po upływie kilku dni, przez które obraz dwóch pańienek z różnym szczęściem walczył o panowanie w moich miłosnych myślach ze wspomnieniem pani de Guermantes, odradzało się ono najczęściej jak gdyby samo z siebie, podczas gdy jego konkurentki same z siebie pierzchały; na nie — na to wspomnienie — przenieśliem w końcu wszystkie swoje myśli miłosne, w sumie jeszcze dobrowolnie, jak gdyby z wyboru i z upodobania. Nie myślałem już o pensjonarkach ani o mleczarce, mimo iż nie spodziewałem się już odnaleźć na ulicy tego, czego szukał: ani czułości przyrzeczonej uśmiechem w teatrze, ani sylwetki i jasnej twarzy pod włosami blond — istniejących jedynie z daleka. Teraz nie umiałbym nawet powiedzieć, jaka jest pani de Guermantes, po czym ją poznaję, bo co dzień w całokształcie jej osoby twarz jej zmieniała się jak suknia i kapelusz.

Czemu raz, widząc zbliżającą się do mnie wprost w „budce” lila słodką i gładką twarz o wdziękach symetrycznie rozmieszczonych dokoła pary błękitnych oczu, twarz, w którą linia nosa była jak gdyby wessana, odgadywałem z radosnym wzruszeniem, że nie wróce, nie ujrawszy pani de Guermantes? Czemu odczuwałem to samo wzruszenie, udawałem tę samą obojętność, odwracałem oczy z tym samym udanym roztargnieniem co wczoraj na widok dojrzanego w poprzecznej ulicy profilu w niebieskim toczku, nosa na kształt ptasiego dzioba wyrastającego z czerwonego policzka, przeciętego przenikliwym okiem niby bóstwo egipskie? Raz nawet ujrzałem nie kobietę z ptasim dziobem, ale jak gdyby samego ptaka: suknia, a nawet toczek pani de Guermantes były futrzane, nie widziało się żadnej materii, tak iż wydawała się porośnięta futrem, jak owe sępy, których gęste, gładkie, płowe i miękkie upierzenie robi wrażenie sierści. Pośród tego naturalnego upierzenia mała głowa zakrzywiała swój ptasi dziób, wypukłe oczy były przenikliwe i niebieskie.

Pewnego dnia przechadzałem się parę godzin po ulicy, nie widząc pani de Guermantes, kiedy nagle ze sklepu mleczarza, wciśniętego między dwa pałace w tej arystokratycznej i ludowej dzielnicy, wyłoniła się mętna i nowa twarz eleganckiej kobiety, która kazała sobie pokazywać serki śmietankowe; zanim miałem czas rozpoznać tę twarz, uderzyło mnie niby błyskawica spojrzenie księżnej, dotarłszy do mnie szybciej od reszty obrazu. Innym razem, nie spotkawszy jej i słysząc, jak bije południe, zrozumiałem, że nie warto już czekać i wracałem smutno do domu; pochłonięty swoim zawodem, patrząc bezmyślnie na powóz, który się oddalał, zrozumiałem nagle, że ruch głowy, jaki dama wykonała w oknie powozu, był dla mnie, i że ta dama, której apatyczne i blade lub, przeciwnie, napięte i żywe rysy tworzyły pod okrągłym kapeluszem i wysoką egretką twarz obcej, a przynajmniej niepoznanej osoby, to jest pani Guermantes: przeoczyłem jej ukłon, nie odkloniwszy się nawet! I niekiedy, wracając, widziałem ją w łoży portiera, gdzie wstrętny odźwierny, którego badawczych spojrzeń nienawidziłem, składał jej uniżone poklony, a z pewnością i raporty. Bo cały personel Guermantów, ukryty za frankami w oknach, śledził ze drżeniem dialog, którego nie słyszał, a w którego następstwie księżna miała niechybnie pozbawić „wychodni” kogoś ze służby, kogoś „fagas” wydał.

Z powodu wszystkich kolejnych objawień się rozmaitych twarzy, jakie mi ukazywała pani de Guermantes, twarzy zajmujących rozmaite w swojej względności, to szczupłą, to

rozległą przestrzeń w całokształcie jej toalety, miłość moja nie była związana z taką lub inną z owych zmiennych partii ciała i materii, które zależnie od dnia zajmowały miejsce innych i które księżna mogła odmienić i odnawiać niemal całkowicie, nie naruszając mojego wzruszenia; poprzez te szczegóły, poprzez nową ramę nieznanego policzka, czułem, że to jest zawsze pani de Guermantes. Bo kochałem niewidzialną osobę wprawiającą w ruch to wszystko; ją, której wrogość martwiła mnie, której zbliżenie przyprawiało mnie o wstrząs, której życie chciałbym zagarnąć, a przyjaciół jej wygnać! Mogłaby włożyć niebieskie piórko lub mieć ogniopiór<sup>117</sup>, a uczynki jej nie stałyby się przez to dla mnie mniej ważne.

Gdybym nie spostrzegł sam z siebie, że panią de Guermantes irytują te codzienne spotkania, odgadłbym to pośrednio z pełnej chłodu, przygany i litości twarzy Franciszki, kiedy mi pomagała stroić się na moje ranne wyprawy. Z chwilą gdym wołał o rzeczy, czułem przeciwny wiatr wznoszący się w ściągniętych i pooranych rysach jej twarzy. Nie próbowałem nawet pozyskać zaufania Franciszki; czułem, że by mi się to nie udało. W błyskawicznym odgadywaniu wszystkiego, co rodzicom i mnie mogło się zdarzyć nieprzyjemnego, miała ona zmysł, którego natura pozostała mi zawsze tajemnicza. Może nie był ów zmysł czymś nadprzyrodzonym, może dałoby się go wytłumaczyć swoistymi sposobami informacji; w ten sposób dzięki plemiona dowiadują się pewnych nowin o kilka dni wcześniej, nim je poczta przyniesie kolonii europejskiej, a doszły ich w istocie nie przez telepatię, ale przy pomocy zapalanych z pagórka na pagórek ogni. I tak, co się tyczyło moich spacerów, służba księżnej de Guermantes słyszała, jak jej pani skarżyła się, że mnie wciąż znajduje na swojej drodze; z kolei służba księżnej powtórzyła to Franciszce. Co prawda, choćby rodzice dali mi do usługi inną osobę, nic bym na tym nie zyskał. W pewnym sensie Franciszka mniej była służącą od innych. W swoim sposobie odczuwania, w swojej dobroci i miłosierdziu, w swojej nieczułości i dumie, subtelności i ograniczeniu, ze swoją białą skórą i czerwonymi rękami była dziewczyną ze wsi, której rodzice „siedzieli na swoim”, ale zrujnowawszy się, musieli ją oddać na służbę. Obecność jej w naszym domu to było powietrze wsi i życie folwarczku sprzed pięćdziesięciu lat, przeniesione do nas rodzajem odwrotnej podróży, w której wieś przychodzi do podróznego. Jak witrynę regionalnego muzeum stroją owe oryginalne robótki, które wieśniaczki wykonują i haftują jeszcze w niektórych okolicach, tak nasze paryskie mieszkanie zdobne było słowami Franciszki, natchnionymi tradycyjnym i lokalnym sentymentem, posłusznymi odwiecznym prawdom. Umiała w nich odtworzyć niby kolorowymi nićmi drzewa wiśniowe i ptaki z czasu swego dzieciństwa, łóżko, gdzie umarła jej matka, a które widziała jeszcze. Mimo to wszystko, odkąd zgodziła się w Paryżu do nas, przejęła — a tym bardziej byłaby to uczyniła inna na jej miejscu — poglądy i kazuistykę<sup>118</sup> służby z innych pięter. Szacunek, jaki nam musiała okazywać, wynagradzała sobie, powtarzając nam to, co kucharka z czwartego powiedziała ordynarnego swojej pani, i to z taką satysfakcją, że pierwszy raz w życiu, czując coś w rodzaju solidarności z okropną lokatorką z czwartego piętra, powiadaliśmy sobie, że w istocie może my jesteśmy państwem!

Ta zmiana charakteru Franciszki była może nieunikniona. Pewne egzystencje są tak anormalne, że muszą nieodzownie rodić pewne skazy; na przykład życie, jakie pędził w Wersalu król pośród swoich dworaków, równie dziwaczne jak życie jakiegoś faraona lub doży; a bardziej jeszcze od życia króla — życie dworaków. Życie służących jest z pewnością jeszcze potworniejszą osobliwością, którą przesłania nam jedynie przyzwyczajenie. Ale nawet gdybym oddalił Franciszkę, skazany byłbym, aż do jeszcze specjalniejszych właściwości, na tę samą służbę. Bo mogłem później mieć różnych służących; już obciążeni ogólnymi wadami służby, ulegali jeszcze u mnie szybkiemu przeobrażeniu. Jak zasady ataku warunkują zasady obrony, tak aby nie cierpieć od pewnych chropowatości mego charakteru, wszyscy oni nabywali identycznych wklęsłości w swoim własnym, i to w tych samych punktach; w zamian za to korzystali z moich luk, aby w nich lokować swoje przestrości. Ja nie znałem tych luk, i tak samo nie znałem wypukłości, wynikających z naszych

<sup>117</sup>*ogniopiór* — choroba skóry, objawiająca się charakterystycznym zaczerwienieniem policzków oraz wysypką na głowie i twarzy, występująca najczęściej u dzieci. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>*kazuistyka* — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne; pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]



stosunków — właśnie dlatego, że istniały luki. Ale moja służba, psując się pomału, pouczyła mnie o tym. Z wad niezmiennie nabywanych przez nich dowiedziałem się o swoich wrodzonych i niezmiennych wadach; charakter mojej służby był niby negatywem mego. Żartowaliśmy sobie niegdyś z mamą z pani Sazerat, która mówiła o służbie: „Ta rasa, to plemię”. Ale muszę przyznać, iż rację, dla której nie myślałem o zastąpieniu Franciszki inną służącą, stanowiło to, że ta inna należałaby tak samo i nieuchronnie do ogólnej rasy służących, a do specjalnego gatunku moich służących.

Aby wrócić do Franciszki, nie zdarzyło mi się doznać w życiu upokorzenia, abym wczasu nie zastał na twarzy Franciszki gotowych już kondolencji; a jeśli kiedyś, wściekły, iż budzę jej współczucie, starałem się, przeciwnie, udawać sukces, kłamstwa moje daremnie obijały się o jej pełne szacunku, ale widoczne niedowierzanie i o jej poczucie własnej nieomyślności. Bo ona wiedziała prawdę; taila ją, czyniąc tylko lekki ruch wargami, tak jakby miała jeszcze pełne usta i kończyła smaczny kąsek. Taila tę prawdę; przynajmniej długo tak myślałem, bo w owej epoce wyobrażałem sobie jeszcze, że prawdy udziela się za pomocą słów. A nawet słowa, które mi mówiono, przekazywały mojej wrażliwości tak niezmiennie swoje wierne znaczenie, że kiedy mi ktoś powiedział, że mnie kocha, tak samo wydawało mi się niemożliwe, aby mnie nie kochał, jak sama Franciszka niezdolna była wątpić — skoro to wyczytała w dzienniku — że jakiś ksiądz lub inny jegomość może, na skierowaną doń pocztą prośbę, przesłać nam gratis nieomyślne lekarstwo na wszystkie choroby lub sposób stokrotnego zwiększenia naszych dochodów. (W zamian za to, jeżeli nasz lekarz dał jej najprostszy środek na katar, ona, tak wytrzymała na największe cierpienie, jęczała, że musi to wdychać, zapewniając, że to jej „zatyka nos” i że już rady sobie dać nie może). Ale Franciszka dała mi pierwszą przykład (miałem go zrozumieć dopiero później, kiedy osoba, która mi była droga, dała mi go na nowo i boleśniej, jak się okaże w ostatnich tomach tego dzieła), że prawdy nie musi się powiedzieć na to, aby ją wyrazić, i że można ją pochwycić pewniej, nie czekając słów i nie biorąc ich wręcz w rachubę, w tysiącu zewnętrznych oznak, nawet w pewnych niewidocznych objawach, analogicznych w sferze charakterów do tego, czym są w fizyce zmiany atmosferyczne. Byłbym się mógł tego domyślać, skoro mnie samemu zdarzało się wówczas często mówić rzeczy pozbawione cienia prawdy, gdy równocześnie objawiałem tę prawdę tyloma mimowolnymi zwierzeniami swego ciała i swoich uczynków (które Franciszka bardzo dobrze sobie umiała tłumaczyć). Byłbym się mógł tego domyślać, ale na to trzeba mi było wiedzieć, że bywałem wówczas niekiedy kłamcą i krętą. Otóż kłamstwo i kręctwo rodziły się u mnie, jak u wszystkich, w sposób tak bezpośredni i przypadkowy, dla własnej obrony, z jakiegoś specjalnego interesu, że duch mój, wpatrzony w piękny ideał, pozwalał memu charakterowi spełniać w mroku te pilne i mizerne roboty i nie raczył się obracać po to, aby je dojrzeć.

Kiedy Franciszka była dla mnie wieczorem uprzejma, kiedy prosiła o pozwolenie posiedzenia w moim pokoju, zdawało mi się, że twarz jej robi się przezroczysta i że widzę w niej samą dobroć i szczerość. Ale Jupien, odznaczający się czasami niedyskrecją, którą poznałem dopiero później, wygadał się, iż ona powiadała, że ja niewart jestem ani postronka na stryczek i że m się silił jej robić ile mogłem złego. Te słowa Jupiena odbiły natychmiast dla mnie — w nieznanym wprzód kolorze — egzemplarz moich stosunków z Franciszką tak różny od tego, na jakim często lubiłem zatrzymywać spojrzenia (gdzie bez cienia wahań Franciszka ubóstwiała mnie i nie traciła żadnej sposobności, aby mnie wysławiać), że rozumiałem, iż nie tylko świat fizyczny różni się od postaci, w jakiej go widzimy; że wszelka rzeczywistość jest może równie niepodobna do tej, którą — w swoim mniemaniu — oglądamy bezpośrednio: że drzewa, słońce i niebo byłyby całkiem inne, niż my je widzimy, oglądane przez istoty mające oczy inaczej ukształtowane niż nasze lub wyposażone do tego celu w narządy inne niż oczy — narządy dające drzewom, niebu i słońcu równoważniki inne niż wzrokowe. Faktem jest, że to okno, jakie mi raz nagle otworzył Jupien na świat zewnętrzny, przeraziło mnie. A jeszcze tu chodziło jedynie o Franciszkę, o którą się troszczyłem dość mało. Czy tak samo mają się rzeczy we wszystkich stosunkach ludzkich? Do jakiej rozpaczy mogłoby to mnie przywieść kiedyś, gdyby tak samo było w miłości?

To była tajemnica przeszłości. Wówczas chodziło jeszcze tylko o Franciszkę. Czy ona myślała szczerze to, co powiedziała Jupienowi? Czy powiedziała to jedynie po to, aby

Ciało, Słowo, Sługa, Pan,  
Kłamstwo, Prawda

poróżnić Jupiena ze mną; może dlatego, aby nie wzięto córki Jupiena na jej miejsce? Bądź co bądź zrozumiałem niemożliwość dowiedzenia się w sposób bezpośredni i pewny, czy mnie Franciszka kocha, czy nienawidzi. Tak więc ona pierwsza zrodziła we mnie myśl, że dana osoba nie znajduje się (jak wprzód sądziłem) przed nami jasna i nieruchoma, ze swymi przymiotami, wadami, projektami, intencjami (niby oglądany przez parkan ogród i jego grządki), ale że jest cieniem, w który nigdy nie zdołamy wnikać, wobec którego nie istnieje bezpośrednie poznanie, co do którego tworzymy sobie mnogie pojęcia przy pomocy słów, a nawet postępów, dających nam jedynie niedostateczne i zresztą sprzeczne wskazówki; cieniem, w którym możemy sobie kolejno z równym prawdopodobieństwem wyobrażać błysk nienawiści lub miłości.

Kochałem się naprawdę w pani de Guermantes. Największe szczęście, o jakie bym mógł prosić Boga, to, aby spuścił na nią wszystkie klęski i aby, zrujnowana, zhańbiona, odarta ze wszystkich dzielących mnie od niej przywilejów, nie mając już dachu nad głową ani człowieka, który by się jej raczył ukłonić, przyszła mnie prosić o schronienie. Wyobrażałem ją sobie w tej roli. A nawet w dni, gdy pewne wahania atmosfery lub mego własnego zdrowia wstawiały w moją świadomość jakiś zapomniany zwój, gdzie były zapisane dawniejsze wrażenia, wówczas, zamiast korzystać z nowych rodzących się we mnie sił, zamiast je obrócić na odcyfrowanie w sobie samym wymykających mi się zazwyczaj myśli, zamiast się wziąć wreszcie do pracy, wołałem rozprawiać głośno, układać w wyobraźni — ilustrując go czczymi słowami i gestami — cały felietonowy romans, jałowy i fałszywy, gdzie księżna, popadłszy w nędzę, przychodzi mnie błagać, mnie, który dzięki odwrotnej igraszce losu stałem się bogaty i potężny. I kiedyś tak strawiłem godziny całe na rojeniu sobie wydarzeń, na dobieraniu zdań, które bym wyrzekł, przyjmując księżnę pod swój dach, sytuacja zostawała ta sama; w rzeczywistości miłość moja wybrała sobie, niestety, kobietę, która skupiała najwięcej różnorodnych przewag, w której oczach tym samym nie mogłem sobie wróżyć żadnego uroku; była bowiem równie bogata jak największy „źle urodzony” bogacz, nie licząc osobistego czaru, który ją stawiał na świeczniku, czyniąc ją wszędzie czymś na kształt królowej.

Czułem, że drażnię księżnę, wychodząc co rano na jej spotkanie; ale gdybym nawet miał siłę wytrwać parę dni, pani de Guermantes nie zauważyłaby może tej powściągliwości, stanowiącej dla mnie taką ofiarę, lub przypisałaby ją jakiejś przygodnej przeszkodzie. I w istocie, aby przestać wychodzić na jej spotkanie, musiałbym się postawić w położeniu, które by mi to uczyniło fizycznym niepodobieństwem; wciąż bowiem odradzająca się potrzeba spotykania jej, stania się bodaj na chwilę przedmiotem jej uwagi, jej ukłonu, potrzeba ta była silniejsza od przykrości, że ją drażnię. Powiniennem był wyjechać na jakiś czas; nie miałem siły. Myślałem o tym przez chwilę. Polecałem Franciszce, żeby mi spakowała rzeczy; zaraz potem, żeby je rozpakowała. Że zaś demon naśladownictwa oraz obawa wydania się zacofanym kazi najnaturalniejszą i najpewniejszą siebie formę, Franciszka, zapożyczając się w słowniku córki, powiadała, że jestem „bujacz”. Nie lubiła (powiadała), że ja wciąż „wydwarzam”; posługiwała się bowiem, kiedy nie chciała rywalizować z modą, słownictwem Saint-Simona. Prawda, że jeszcze mniej lubiła, kiedyś przemawiał jako jej pan. Wiedziała, że to nie płynie ze mnie i że mi z tym nie jest do twarzy, co wyrażała, mówiąc, że „rządzenie się mi nie pasuje”.

Gdyby chodziło o wyjazd, miałbym odwagę wyjechać jedynie w kierunku, który by mnie zbliżył do pani de Guermantes. To nie było niemożliwe. Gdybym się udał o wiele mil od pani de Guermantes, ale do kogoś, kogo by ona знаła, kogo by uważała za trudnego w doborze stosunków, a kto by mnie cenil, kto by jej mógł mówić o mnie i jeżeli nie uzyskać od niej tego, czego bym pragnął, to przynajmniej zakomunikować jej owo pragnienie; do kogoś, dzięki komu w każdym razie, jedynie rozważając z nim możliwości jakiejś interwencji, dałbym swoim samotnym i niemyim marzeniom nową, mówioną, czynną formę, która wydawałaby mi się postępem, niemal realizacją, czyżby to nie znaczyło być bliżej niej, niż byłem teraz, stercząc na ulicy, sam, upokorzony, czując, że ani jedna z myśli, które chciałbym jej przesłać, nie dojdzie do niej nigdy, drepcąc na miejscu w tych swoich spacerach, które mogłyby trwać bez końca, nie posuwając mnie ani trochę naprzód? Wmieszać się w to, co ona robiła podczas tajemniczego życia istoty z klanu Guermantów, życia będącego przedmiotem mego sekretnego marzenia, wtargnąć w nie bodaj pośrednio na sposób dżwigni, wprawiając w ruch kogoś, komu byłby dostępny pa-

lac księżnej, jej przyjęcia, dłuższa z nią rozmowa, czyżby to nie była styczność bardziej odległa, ale skuteczniejsza niż moje uliczno-poranne kontemplacje?

Przyjaźń i podziw, jakie dla mnie żywił Saint-Loup, wydawały mi się niezasłużone i były mi obojętne. Naraz wydały mi się cenne; pragnąłbym, aby on się nimi podzielił z panią de Guerantes, byłbym zdolny prosić go, aby to uczynił. Bo z chwilą kiedy ktoś jest zakochany, chciałby roztoczyć przed ukochaną kobietą wszystkie drobne, niezbrane przywileje, jakie posiada, tak jak to czynią w życiu wykołajeńcy i natręty. Dręczy nas, że ona nie zna naszych przewag; staramy się pocieszyć myślą, iż właśnie dlatego że te przewagi nie są nigdy widzialne, ona pomnaża swoje pojęcia o nas możliwościami niewiadomych zalet.

Saint-Loup od dawna nie mógł wpaść do Paryża, bądź — jak mówił — ze względów służbowych, bądź raczej z powodu zgryzot, jakie mu sprawiała kochanka. Dwa razy był już bliski zerwania. Często mówił mi, ile bym mu dobrego wyświadczył, odwiedzając go w tym garnizonie, którego nazwa — w dwa dni od chwili, gdy Saint-Loup opuścił Balbec — wyczytana na kopercie pierwszego listu mego przyjaciela, sprawiła mi tyle radości. Było to małe arystokratyczne i wojskowe miasteczko, mniej odległe od Balbec, niżbym mógł wnosić z całkowicie już lądowego krajobrazu, otoczone rozległymi polami, gdzie w piękną pogodę tak często buja w oddali jakaś dźwięczna i lekka mgła, która — jak szpaler topoli rysuje swoimi zakrętami bieg niewidzialnej rzeki — zdradza przesunięcia manewrującego pułku, tak że nawet atmosfera ulic, alej i placów nabyła w końcu jak gdyby ciągłej muzycznej i wojennej dźwięczności, a najpospolitszy turkot wozu lub tramwaju przedłuża się tam uszom urzeczonym ciszą w powtarzające się bez końca zamglone odgłosy trąbki.

Miasteczko nie było tak odległe od Paryża, abym nie mógł, wpadłszy tam kurierem, wrócić, uściskać matkę i babkę i znaleźć się na noc w swoim łóżku. Skorom to sobie uświadomił, nękania bolesnym pragnieniem, miałem za mało woli, aby zdecydować, że nie wrócę do Paryża i zostanę w miasteczku; ale za mało także, aby przeszkodzić bagażowemu zanieść moją walizkę do fiakra<sup>119</sup>, aby idąc za nim, nie stać się zafrasowanym podróżnym, czuwającym nad swoimi rzeczami i nieoczekiwanym przez żadną babkę, aby nie wsiąść do dorożki ze swobodą człowieka, który, przestawszy myśleć o tym, czego chce, robi wrażenie, iż wie, czego chce, i aby nie podać woźnicy adresu koszar kawalerii.

Myślałem, że Saint-Loup zanocuje ze mną tego dnia w hotelu, aby mi złagodzić wstrząs pierwszego zetknięcia z nieznanym miastem. Żołnierz poszedł go uprzedzić; i czekałem na Roberta u bramy koszar, przed tym wielkim okrętem huczącym listopadowymi wichrami, skąd co chwilę — była szósta wieczór — wychodzili parami żołnierze, kiwając się tak, jakby wysiedli na łód w jakimś egzotycznym porcie, gdzie się chwilowo zatrzymano.

Przybył Saint-Loup, kołysząc się na wszystkie strony, powiewając przed sobą monoklem; nie powiedziałem nazwiska, chciałem się cieszyć jego radością i niespodzianką.

— Och, co za fatalność! — wykrzyknął, spostrzegając mnie nagle i czerwieniąc się po uszy. — objąłem właśnie tygodniową służbę i nie mogę wyjść przed upływem tego czasu!

I pochłonięty myślą, że będzie mnie musiał zostawić samego przez tę pierwszą noc — znał bowiem lepiej niż ktokolwiek moje wieczorne lęki, które tak często widział i uśmiechał w Balbec — przerywał swoje żale, aby się zwracać do mnie, śląc mi lekkie uśmiechy, czułe spojrzenia, nierówne, bo jedno szły wprost z jego oka, a drugie przez monokl, a wszystkie były aluzją do wzruszenia moim widokiem, aluzją również do tej ważnej rzeczy, którą nie zawsze rozumiałem, ale którą cenilem teraz — do naszej przyjaźni.

— Mój Boże! gdzie ty będziesz nocował? Doprawdy, nie doradzam ci hotelu, gdzie jadamy, to w stronie Wystawy<sup>120</sup>, która rozpocznie się niebawem, miałbyś tam tłumy. Nie, lepszy będzie Hotel Flandryjski, to dawny pałacyk z XVIII wieku ze starymi obiciami. To „robi” dosyć dobrze „starą siedzibę historyczną”.

Saint-Loup używał co chwilę przy każdej sposobności słowa „robi” zamiast „wygląda na coś”, bo język mówiony, jak pisany, odczuwa od czasu do czasu potrzebę owych zmian

<sup>119</sup>fiaker (daw., z fr.) — dorożka; także: dorożkarz, woźnica. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>Wystawa — wystawa światowa w Paryżu. [przypis edytorski]

w znaczeniu słów, owych ekscentryczności wyrażen. I tak samo jak często dziennikarze nie wiedzą, z jakiej szkoły literackiej pochodzą smaczki, którymi nas częstują, tak samo słownictwo, a nawet dykcja Roberta urobione były na podobieństwo trzech różnych estetów, z których żadnego nie znał, ale których sposoby mówienia przejął pośrednio.

— Zresztą — zakonkludował Robert — ten hotel dość dobrze zaadaptowany jest do twojej hiperestezji<sup>121</sup> słuchowej. Nie będziesz miał sąsiadów. Uznaję, że to jest nikła korzyść, że zaś, ostatecznie, nowy gość może tam przybyć jutro, to by nie była racja darzenia tego hotelu świadomym wyborem. Nie, raczej ci go zalecam dla jego stylu. Pokoje są dość sympatyczne, meble stare i wygodne, ma coś, co daje poczucie bezpieczeństwa.

Ale dla mnie, mniej estety od Roberta, przyjemność, jaką może dać stylowy pałacyk była powierzchowna, prawie żadna i nie mogła ukoić owładającego mną niepokoju, równie uciążliwego jak ów, który mnie nawiedzał niegdyś w Combray, kiedy mama nie przyszła mi powiedzieć dobranoc, lub któremu doznawał w dniu przybycia do Balbec, w nazbyt wysokim pokoju, wonięjącym „bagnem”. Saint-Loup zrozumiał to z mego martwego spojrzenia.

— Ale ty sobie gwizdziesz, moje kochanie, na ładny pałacyk; jesteś cały błądy, a ja mówię ci jak bydlę o obiciach, na które nawet nie będziesz miał serca spojrzeć. Znam pokój, w którym by cię pomieszczono; osobiście wydaje mi się bardzo wesoły, ale zdaję sobie sprawę, że dla ciebie, przy twojej wrażliwości, to nie to samo. Nie przypuszczaj, że ja cię nie rozumiem; nie odczuwam tak samo, ale stawiam się na twoim miejscu.

Podoficer, który przejeżdżał konia na dziedzińcu, bardzo zajęty tym, aby go uczyć skakać, nieodpowiadający na ukłony żołnierzy, ale obsypujący wyzwiskami tych, co mu się napatoczyli, uśmiechnął się w tej chwili do Roberta, widząc zaś, że jest w towarzystwie, uklonił się. Ale koń jego, spieniony, stanął potężnego dęba. Saint-Loup poskoczył, chwycił konia za uzdę, zdołał go uspokoić i wrócił do mnie.

— Tak — rzekł — ręczę ci, że ja sobie zdaję sprawę, cierpię razem z tobą; czuję się nieszczęśliwy — dodał, kładąc mi serdecznie rękę na ramieniu — na myśl, że gdybym mógł zostać przy tobie, zdołałbym może, siedząc obok ciebie, rozmawiając z tobą do rana, ująć ci trochę smutku. Pożyczyłbym ci chętnie książek, ale w tym stanie nie będziesz mógł czytać. I nie ma nawet mowy o tym, żeby mnie ktoś mógł zastąpić; już dwa razy z rzędu to robiłem, kiedy moja dziewczyna przyjechała.

Marszczył brwi strapiony, a także z natężenia, z jakim szukał, niby lekarz, co za lekarstwa dałoby się użyć na moje cierpienie.

— Biegnij zapalić ogień w moim pokoju — rzekł do przechodzącego żołnierza. — No, prędzej, zwijaj się.

Potem na nowo zwracał się do mnie: zarówno monokl, jak oko krótkowidza robiły aluzję do naszej wielkiej przyjaźni:

— Nie! ty tutaj, w tych koszarach, gdzie tyle o tobie myślałem; nie wierzę własnym oczom, mam uczucie, że śnię. A ogółem, twoje zdrowie, czy trochę lepiej? Opowiesz mi to wszystko za chwilę. Pójdziemy do mnie, nie siedzmy za długo na dziedzińcu, jest wściekły wiatr; ja tego już prawie nie czuję, ale ty nie jesteś przyzwyczajony, boję się, żebyś nie zziął. A do pracy zabrałeś się już? Nie? Jakiś ty zabawny! Gdybym ja miał twój talent, myślę, że pisałbym od rana do wieczora. To cię bardziej bawi nic nie robić! Co za nieszczęście, że właśnie ludzie mierni jak ja zawsze są skorzy pracować, a ci, co by mogli, nie chcą. Ale ja cię jeszcze nie spytałem o zdrowie babki. Nie rozstaję się z jej Proudhone<sup>122</sup>.

Jakiś oficer — wielki, piękny, majestatyczny — wolnym i uroczystym krokiem wynurzył się ze schodów. Saint-Loup uklonił się i unieruchomił wieczną ruchliwość swego ciała na czas, przez który trzymał rękę przytkniętą do kepi<sup>123</sup>. Ale wyrzucił ją z taką siłą, prostując się ruchem tak suchym, natychmiast zaś po uklonieniu opuścił dłoń gestem tak nagłym, zmieniając wszystkie pozycje ramienia, nogi i monoklu, że ten moment był nie tyle chwilą nieruchomości, ile drgającym napięciem, w którym neutralizowały się nadmierne ruchy poprzednie i te, które miały nastąpić. Tymczasem oficer, nie zbliżając się,

<sup>121</sup>hiperestezja (gr., med.) — przeczulica, nadmierna wrażliwość na bodźce zmysłowe. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Proudhon, Pierre Joseph (1809–1865) — francuski myśliciel społeczny, polityk, dziennikarz, twórca anarchizmu indywidualistycznego; krytykował kapitalizm, państwo i Kościół. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>kepi — sztywna czapka wojskowa o kształcie walca, z czworokątnym daszkiem. [przypis edytorski]

spokojny, życzliwy, godny, cesarski, w sumie przedstawiający kompletne przeciwieństwo Roberta, podniósł także — ale bez pośpiechu — rękę do kepi.

— Muszę coś powiedzieć kapitanowi — szepnął do mnie Saint-Loup — bądź tak dobry, idź, zaczekaj na mnie w moim pokoju, drugi na prawo, trzecie piętro, przyjdę do ciebie za chwilę.

I ruszając ostrym krokiem, poprzedzony monoklem bujającym na wszystkie strony, poszedł prosto ku godnemu i powolnemu kapitanowi, któremu przyprowadzono w tej chwili konia. Zanim wszedł, wydawał parę rozkazów, z wystudiowaną szlachetnością gestów, niby z jakiegoś historycznego obrazu. Wyglądał tak, jakby miał jechać na jaką bitwę Pierwszego Cesarstwa<sup>124</sup>, podczas gdy po prostu udawał się do siebie, do mieszkania wynajętego na czas pobytu w Doncieres, na placu nazwanym — jakby przez antycypowaną ironię wobec tego napoleonidy — placem Republiki! Zapuściłem się na schody, niemal ślizgając się co chwila na stopniach nabitych gwoździami; migały mi izby o nagich ścianach z podwójnymi szeregami łóżek i kuferków. Wskazano mi pokój Roberta. Stałem przez chwilę przed zamkniętymi drzwiami, bom słyszał, że się ktoś tam rusza; jakby ktoś trącał coś, jakby coś upuszczał; czułem, że pokój nie jest pusty, że tam ktoś jest. Ale to był tylko ogień płonący na kominku. Nie mógł wytrwać ani przez chwilę spokojnie, ruszał polana, i to bardzo niezręcznie. Wszedłem; stracił jedno, buchnął dymem z drugiego. I nawet kiedy się nie ruszał, i wówczas, jak ludzie z gminu, wciąż wydawał jakieś odgłosy, które, skorom widział wzbijający się płomień, były dla mnie odgłosami ognia, ale przez ścianę wydałyby mi się hałasem kogoś, kto uciera nos i chodzi. W końcu usiadłem w pokoju. Obicie *liberty*<sup>125</sup> i stare niemieckie materie z XVIII wieku chroniły go od zapachu wydzielanego przez resztę budynku; był to zapach pospolity, mdły i zgniły, jak woń razowego chleba. Tu, w tym uroczym pokoju, zjadłbym obiad i spałbym tak rozkosznie i spokojnie! Saint-Loup zdawał się tu niemal obecny dzięki fachowym książkom leżącym na stole, dzięki fotografiom, pośród których rozpoznałem siebie i panią de Guermites, dzięki ogniowi, który wreszcie przyzwyczał się do kominka i niby zwierzę leżące w żarliwym, milczącym i wiernym oczekiwaniu, jedynie od czasu do czasu upuszczał rozsypującą się głównię lub lizal płomieniem ścianę.

Słyszałem tykanie zegarka, który musiał leżeć gdzieś niedaleko. Tykanie to zmieniało co chwila miejsce, bo zegarka nie widziałem; rozlegało się za mną, z przodu, z prawej, z lewej, chwilami jakby ginąc w oddali. Naraz ujrzałem zegarek na stole. Odtąd słyszałem tykanie w stałym punkcie, z którego się już nie ruszyło. Przynajmniej zdawało mi się, że je tam właśnie słyszę; nie słyszałem go tam, ale widziałem, dźwięki nie mają miejsca. Przynajmniej łączymy je z ruchami, przez co mają dla nas tę korzyść, że nas uprzedzają o ruchach, czynią je niejako czymś naturalnym i koniecznym. Z pewnością zdarza się niekiedy, że chory, któremu hermetycznie zamknięto uszy, nie słyszy już odgłosu ognia podobnego temu, który trzeszczał w tej chwili na kominku Roberta, wytrwale fabrykując głównię i popiół i upuszczając je następnie do koszyka; i tak samo nie słyszy tramwajów, których muzyka zrywała się w regularnych odstępach na rynku w Doncieres. Jeżeli wówczas taki chory czyta, stronicę będą się obracały w ciszy, jakby je obracał palec jakiegoś boga. Głuchy łoskot przyrządzonej kąpieli łagodnieje, cichnie i oddala się na kształt niebiańskiego świegotu. Oddalenie się hałasu, jego zwątlenie odbierają mu w stosunku do nas wszelką natarczywość; dopiero co nękani uderzeniami młota, które zdawały się wstrząsać sufit nad naszą głową, bawimy się teraz tym, aby chwycić te uderzenia, lekkie, pieścizotliwe, dalekie, niby szmer liści igrających na ścieżce z wietrzykiem. Kładziemy pasjansę, nie słysząc szelestu kart, tak iż myślimy, żeśmy ich nie poruszyli, że się ruszają same i że, uprzedzając naszą ochotę, same zaczęły grać z nami. I nasuwa się pytanie, czy z Miłością (dodajmy nawet do Miłości miłość życia, miłość sławy, skoro są podobno ludzie znający te dwa uczucia) nie powinno by się czynić tak jak ci, co wobec hałasu — zamiast błagać go, żeby ustał — zatykają sobie uszy; i naśladując ich, czybyśmy nie powinni skupić na sobie samych naszej uwagi, naszej samoobrony, dając im za cel uszczuplenie nie osoby którą kochamy, ale naszej zdolności cierpienia przez tę osobę.

<sup>124</sup>*Pierwsze Cesarstwo Francuskie* — państwo francuskie, w którym najwyższą władzę sprawował Napoleon Bonaparte jako cesarz Francuzów, Napoleon I (w latach 1804–1814 i 1815). [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*Obicie liberty* — z luksusowego londyńskiego domu towarowego „Liberty”, sprzedającego ozdoby, tkaniny i przedmioty sztuki, założonego w 1875. [przypis edytorski]

Aby wrócić do dźwięku: wystarczy pogrubić jeszcze kulkę zamykającą przewód słuchowy, a może ona zmusić do *pianissimo*<sup>126</sup> pannę, która grała nad naszą głową hałaśliwy kawalek; wystarczy nasycić taką kulkę tłuszczem, a natychmiast despotyzmowi jej ulega cały dom, prawa jej rozciągają się nawet na ulicę. *Pianissimo* już nie wystarcza; kulka zamyka niezwłocznie fortepian, ucina nagle lekcję muzyki; jegomość, który nam chodził po głowie, przerywa w jednej chwili dreptanie; krążenie powozów i tramwajów ustaje nagle, tak jakby oczekiwano jakiejś głowy państwa. I to ściszenie dźwięków mąci nawet czasem sen zamiast go chronić. Wczoraj jeszcze nieustanne hałasy, opisując nam bez przerwy ruch na ulicy i w domu, usypiały nas w końcu jak nudna książka; dzisiaj na powierzchni ciszy rozciągającej się na naszym śnie jakiś silniejszy od innych łoskot daje się w końcu słyszeć, lekki jak westchnienie, bez związku z żadnym innym dźwiękiem, tajemniczy; i prośba o wytłumaczenie, jaką nam szepce, wystarcza, aby nas obudzić. Dość jest usunąć na chwilę choremu watę osłaniającą bębenki, a nagle światło, pełne słońce dźwięku, zjawia się na nowo, oślepiające, odradza się we wszechświecie; pędem wraca tłum wygnanych hałasów; jest się świadkiem zmartwychwstania głosów, jakby je psalmodiowały<sup>127</sup> muzykujące anioły. Puste ulice wypełniają się na chwilę szybkimi i kolejnymi skrzydłami śpiewnych tramwajów. I w samym pokoju chory stwarza nie jak Prometeusz ogień, ale dźwięk ognia. I powiększając lub zwalniając pęczki waty, robimy tak, jakbyśmy naciskali kolejno jeden i drugi z dwóch pedałów, które przydaliśmy dźwięczności zewnętrznego świata.

Jednakże istnieją porażenia dźwięków trwałe, nie chwilowe. Człowiek całkowicie głuchy nie może nawet zagrzać rondelka z mlekiem, inaczej niż śledząc oczami, podniósłszy przykrywkę, biały podbiegunowy blask podobny blaskowi śnieżnej zawieruchy, niby ostrzegawczy znak, którego rozsądnie jest słuchać, wyjmując — niby Pan wstrzymujący fale — kontakt elektryczny; bo już wznoszące się i spazmatyczne jajko wrzącego mleka rośnie w paru skośnych rzutach, wzdyma się, zaokrągla parę wpół obalonych żagli, które zmarszczyła śmietanka, ciska w burzę żagiel z perłowej masy, przerwanie zaś prądów — jeżeli zażegnano na czas elektryczną nawałnicę — skręca je wszystkie w miejscu i rzuca je z wiatrem zmienione w płatki magnolii. Ale jeżeli chory nie podjął zawczasu potrzebnych ostrożności, niebawem książka jego i zegarek, zatopione, ledwo wychylają się z białego morza po tym mlecznym przyplwywie; musi wołać na pomoc swoją starą służącą, która, choćby był znamienitym mężem stanu lub wielkim pisarzem, powie mu, że ma nie więcej rozumu niż pięcioletnie dziecko.

Innym razem, w czarnoksięskim pokoju, przed zamkniętymi drzwiami zjawia się osoba, której nie było przed chwilą; to gość, którego wejścia chory nie słyszał i który wykonuje tylko gesty niby w teatrzyku marionetek, tak kojącym dla tych, co nabrali wstrętu do słów. Utrata jednego zmysłu przydaje światu tyleż piękności co nabycie innego: toteż taki głuchy przechadza się teraz z rozkoszą po Ziemi niemal rajskiej, gdzie nie stworzono jeszcze dźwięku. Najwyższe wodospady rozpościerają swój kryształowy obrus dla samych oczu, spokojniejsze niż morze w czas ciszy, jak wodospady Raju. Ponieważ hałas był dlań przed ogłuchnięciem dostrzegalną formą przyczyn ruchu, przedmioty poruszające się bez hałasu poruszają się jak gdyby bez przyczyny; odarte z wszelkich właściwości dźwiękowych, rozwijają samorzutną czynność, zdają się żyć; poruszają się, martwieją, zapalają się same. Same z siebie wlatują niby skrzydlate przedhistoryczne potwory. W samotnym i pozbawionym sąsiadów domu człowieka głuchego, usługa, która, zanim jego głuchota stała się kompletna, okazywała już więcej względów i odbywała się cicho, wykonywana jest teraz — z odcieniem czegoś podstępnego — przez niemych, jak obsługa króla w ferii<sup>128</sup>. I budowle, które głuchy widzi z okna — koszary, kościół, ratusz — są, również jak na scenie, tylko dekoracją. Jeżeli któregoś dnia dekoracja się zawali, powstanie stąd chmura kurzu i widoczne szczątki; ale jeszcze mniej materialna niż pałac w teatrze, od którego jest wszelako mniej lekka, runie w czarodziejski wszechświat tak, że upadek jej ciężkich głazów żadnym pospolitym hałasem nie skala czystości ciszy.

<sup>126</sup>*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*psalmodia* a. *psalmodiowanie* — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>*feria* (z fr.) — widowisko fantastyczne, teatralne lub skomponowane na sposób teatralny. [przypis edytorski]

Cisza — o wiele bardziej względna — panująca w żołnierskiej izdebce, gdzie się znajdowałem od paru chwil, przerwała się. Drzwi się otwały i Saint-Loup, wypuszczając z oka monokl, wyszedł żywo.

— Ach, Robercie, jak tu dobrze u ciebie — rzekłem — jakby to było wspaniale, gdyby tu było wolno zjeść obiad i przenocować!

I w istocie, gdyby to nie było zabronione, jakiegoż spoczynku wolnego od smutku zakosztowałbym tutaj, chroniony przez tę atmosferę spokoju, czujności i wesołości, którą podtrzymywały tysiączne uregulowane i zdyscyplinowane wole, tysiąc beztroskich dusz, w tej wielkiej wspólnocie, jaką są koszary, gdzie, strojąc nawet czas w formę działania, smutny dźwięk godzin zastąpiono radosną fanfaramą pobudek, tych samych, których dźwięczne wspomnienie, rozproszkowane, rozdrobnione, buja nieustannie nad brukiem ulic — głos pewny, że będzie słuchany, a muzyczny, bo jest nie tylko głosem władzy wzywającej do posłuchu, ale i głosem mądrości wzywającej do szczęścia.

— A! wolałbyś spać tutaj blisko mnie niż iść sam do hotelu — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup.

— Och, Robercie, okrutny jesteś, że traktujesz to ironicznie — rzekłem — skoro wiesz, że to niemożliwe i że tam będę tak cierpiał!

— Sprawiasz mi wielką przyjemność — rzekł — bo właśnie pomyślałem sam z siebie, że ty wolałbyś zostać dzisiaj wieczór tutaj. I specjalnie o to poszedłem prosić kapitana.

— I pozwolił? — wykrzyknąłem.

— Bez najmniejszej trudności.

— Och! ubóstwiam go!

— Nie, to za wiele. A teraz, pozwól mi zawołać ordynansa, by się zajął naszym obiadem — dodał, gdy ja się odwróciłem, aby ukryć łzy.

Raz po raz wchodził któryś z kolegów Roberta. Wyrzucał ich za drzwi.

— No, zmykaj!

Prosiłem go, aby im pozwolił zostać.

— Ale nie, zanudziliby cię, to są ludzie całkowicie nieokrzesani, którzy umieją mówić tylko o wyścigach, o ile nie o czyszczeniu koni. A i mnie zepsuliby te tak drogie chwile, których tak bardzo pragnąłem. Ale zważ, że jeżeli ja mówię o ubóstwie ducha moich kolegów, to nie znaczy, aby wszelki wojskowy miał być antyintelektualny. Ani trochę. Mamy tu majora, który jest cudowny człowiek. Miał kurs, w którym historia wojen potraktowana jest jak dowód matematyczny, coś w rodzaju algebry. Nawet estetycznie to ma swoją piękność, indukcyjną i dedukcyjną na przemian. Podobałoby ci się.

— To nie ten kapitan, który mi pozwolił zostać tutaj?

— Nie, Bogu dzięki, bo człowiek, którego „ubóstwiasz” dla tak błahej przyczyny, to jest największy głupiec, jakiego święta ziemia nosiła. Bajeczny jest do tego, aby się zajmować menażą<sup>129</sup> i ekwipunkiem swoich ludzi; spędza godziny całe z kwatermistrzem i z krawcem pułkowym. To jego mentalność. Gardzi zresztą, jak wszyscy, wspaniałym majorem, o którym ci mówiłem. Nikt z nim nie żyje, bo jest mason i nie chodzi do spowiedzi. Nigdy ksiązę Borodino nie przyjąłby u siebie tego plebejusza. I to jest bądź co bądź bajeczny tupet ze strony człowieka, którego pradziadek był po prostu chłopem i który gdyby nie wojny napoleońskie, byłby zapewne też chłopem. Zresztą on sobie dobrze zdaje sprawę ze swojego położenia w świecie: ni to pies, ni wydra. Zaledwie się pokazuje w Jockey Clubie, tak bardzo czuje się tam nieswój ten rzekomy ksiązę — dodał Robert, który mocą tego samego ducha naśladownictwa przejąwszy teorie socjalne swoich mistrzów i przesady światowe swojej rodziny, łączył — nie zdając sobie z tego sprawy — miłość ludu z pogardą dla szlachty Cesarstwa.

Patrzyłem na fotografię jego ciotki; myśl, że Saint-Loup, posiadając tę fotografię, będzie mi ją może mógł darować, uczyniła mi go tym droższym. Byłbym pragnął oddać mu tysiąc usług, które w porównaniu z tą wydawały mi się drobiazgiem. Bo ta fotografia to było niby jedno spotkanie więcej, przydane do moich poprzednich spotkań z panią de Guermantes; co więcej, spotkanie przedłużone, tak jakby w nagłym zbliżeniu naszych stosunków ona zatrzymała się przy mnie w ogrodowym kapeluszu i pozwoliła mi pierwszy raz przyglądać się do syta tym policzkom, linii karku, kącikowi brwi (dotąd zamglonym

<sup>129</sup> *menaż* (przestarz., z fr.) — stolówka; kasyno wojskowe. [przypis edytorski]

dla mnie wskutek chyżości mijania się, zamętu moich wrażeń, chwiejności wspomnienia); i oglądanie tego wszystkiego, jak widok piersi i ramion kobiety, którą się dotąd widziało tylko w sukni pod szyję, było dla mnie rozkosznym odkryciem, przywilejem. Te linie, których widok zdawał mi się dotąd niemal wzbroniony, mógłbym studiować niby w podręczniku jedynej geometrii mającej dla mnie wartość.

Później, przyglądając się Robertowi, spostrzegłem, że i on był po trosze niby fotografia jego ciotki. Mocą tajemnicy, dla mnie niemal równie wzruszającej, o ile twarz Roberta nie była wprost poczęta z jej twarzy, obie miały wszakże wspólny początek. Rysy księżnej de Guermantes, przyszpilone w mojej wizji z Combray, nos w kształcie sokołego dzioba, przenikliwe oczy posłużyły również do wycięcia — w innym analogicznym i wiotkim egzemplarzu o zbyt delikatnej skórze — twarzy Roberta, niemal pokrywającej się z twarzą ciotki. Z zazdrością oglądałem w nim charakterystyczne rysy Guermantów, rasy tak swoistej w świecie, w którym ona nie ginie, w którym pozostaje wyosobniona w swojej bosko ornitologicznej chwale, zdaje się bowiem zrodzona w mitologicznej epoce z połączenia bogini i ptaka.

Nie znając przyczyn mego rozczulenia, Robert był bardzo nim wzruszony. Czulość ta wzmagala się zresztą od błogostanu spowodowanego ciepłem kominka i szampanem, który równocześnie perlił kroplami potu moje czoło, a łzami moje oczy; podlewaliśmy nim kuropatwy, które jadłem z podziwem wszelkiego profana, kiedy w jakimś obcym mu życiu znajdzie coś, o czym sądził, że jest z tego życia wykluczone (na przykład podziw wolnomysliciela zjadającego świetny obiad na plebanii). I nazajutrz rano, budząc się, z okna pokoiku Roberta, które, położone bardzo wysoko, ogarniało całą okolicę, rzuciłem pełne ciekawości spojrzenia, aby się zapoznać ze swoją sąsiadką — wsią, której nie mogłem obejrzeć poprzedniego dnia, przybywszy za późno, w nocy, w chwili gdy ona już spała. Ale choć się budziła wcześniej, ujrzałem ją wszakże, otwierając okno, jedynie tak, jak się ją widzi z okna jakiegoś zamku, w stronie stawu, opatuloną jeszcze w miękką białą szatę z mgły, która nie pozwalała mi prawie nic dojrzeć. Ale wiedziałem, że zanim żołnierze krzątający się na dziedzińcu przy koniach skończą je czyścić, ona zdejmie tę suknię. Na razie widziałem tylko nikłą górkę, wystawiającą w stronę koszar swój grzbiet już odarty z cienia, mizerny i chropawy. Poprzez ażurowe firanki szronu nie odrywałem oczu od tej nieznanym, która mnie widziała pierwszy raz. Ale kiedy przywykłem zachodzić do koszar, świadomość, że ta górka jest tam, realniejsza tym samym — nawet kiedy jej nie widziałem — niż hotel w Balbec, niż nasz dom w Paryżu, o których myślałem jak o nieobecnych, jak o umarłych, to znaczy ledwie już wierząc w ich istnienie, sprawiła, że nawet gdy sobie z tego nie zdawałem sprawy, oświetlony jej kształt rysował się zawsze nad najmniejszymi wrażeniami, jakich doznałem w Doncieres, aby zaś zacząć od tego ranka, nad lubym wrażeniem ciepła, jakie mi dała czekolada przyrządzona przez ordynansa Roberta w tym wygodnym pokoju, sprawiającym wrażenie optycznego centrum do oglądania tego wzgórza, ile że myśl robienia czegoś innego niż patrzenia na nie i przechadzania się po nim była uniemożliwiona przez rozpościerającą się mgłę. Nasycając kształt pagórka, skojarzona ze smakiem czekolady i z wątkiem moich ówczesnych myśli, ta mgła, mimo że nie myślałem o niej ani trochę, zwilżyła wszystkie moje myśli z owego czasu, tak jak jakieś nieskażone i masywne złoto skojarzyło się z moimi wrażeniami z Balbec lub jak sąsiedztwo czarnych kamiennych schodów powlekało czymś szarym moje wrażenia z Combray. Mgła nie przetrwała zresztą długo, słońce wypuściło na nią daremnie kilka strzał, które zahaftowały ją diamentami, po czym rozproszyły ją. Wzgórze mogło poddać swój szary grzbiet promieniom, które w godzinę później, kiedy zeszedł do miasta, dawały czerwonym liściom drzew oraz czerwieni i błękitowi afiszów wyborczych na murach jakiś poryw, który wypełniał mnie samego i kazał mi zbijać bruk, śpiewając i wstrzymując się, aby nie podskakiwać z radości.

Ale począwszy od drugiego dnia, trzeba mi było nocować w hotelu. I wiedziałem z góry, że muszę tam zastać nieunikniony smutek. Smutek ten był niby dławiący aromat, jaki od czasu mego pierwszego dzieciństwa wydzielał dla mnie wszelki nowy pokój, to znaczy wszelki pokój: w pokoju, gdzie mieszkał stale, byłem nieobecny, myśl moja przebywała gdzie indziej, wysyłała na swoje miejsce jedynie przyzwyczajenie. Ale nie mogłem obarczać owej mniej wrażliwej służebnicy tym, aby się zajęła moimi sprawami w nowym miejscu, gdzie ją poprzedzałem, gdzie przybywałem sam, gdzie trzeba mi było



wprowadzić w kontakt z otoczeniem owo „ja”, które odnajdywałem jedynie po latach przerwy, ale zawsze to samo, ile że nie urosło od czasu Combray, od mego pierwszego przybycia do Balbec, płaczące i niepokieszone na otwartej walizie.

Otóż pomyliłem się. Nie miałem czasu być smutny, bo nie byłem ani chwili sam. Bo z dawnego pałacu pozostał przerost zbytku, bez zastosowania w nowoczesnym hotelu, i oderwany od wszelkiej praktycznej funkcji, przybrał w swojej bezczynności rodzaj własnego życia: kręcące się w kółko korytarze, których bezcelowe odnogi mijają się co chwila, sienie długie jak korytarze, a strojne jak salony, robiące raczej wrażenie, że tam mieszkają, niż że stanowią część mieszkania; nie dało się ich włączyć w żaden apartament, ale krążyły dokoła mego i przyszyły mi od razu ofiarować swoje towarzystwo — rodzaj sąsiadów próżniaczych, lecz nie hałaśliwych, pokątnych widm przeszłości, którym pozwolono mieszkać bez hałasu u drzwi pokojów do wynajęcia — mury, które, za każdym razem kiedy je spotkałem na drodze, zachowywały wobec mnie milczącą uprzejmość. W sumie, idea mieszkania, prostego futerału obejmującego nasze doraźne istnienie i zabezpieczającego nas jedynie od zimna, od wzroku ludzi, nie nadawała się absolutnie do tej siedziby, zespołu ubikacji<sup>130</sup> równie realnych jak zbiorowisko osób, o życiu milczącym co prawda, ale które musiało się spotykać, unikać ich, witać je, kiedy się wracało. Niepodobna było bez ostrożnego szacunku patrzeć na wielki salon, który od XVIII wieku nawykł rozpościerać się między swymi gzymsami ze starego złota, pod chmurami malowanymi na suficie. A poufalszą ciekawość budziły małe pokoiki, które nie troszcząc się o symetrię, biegły dokoła niego, niezliczone, zdziwione, uciekające w nieładzie aż do ogrodu, dokąd schodziły tak łatwo po trzech wyszczerbionych stopniach.

Kiedyś chciałem wyjść lub wrócić, nie posługując się windą i nie przechodząc przez główne schody, mniejsze schodki prywatne, już nieużywane, nadstawały mi swoje stopnie, tak składnie zbudowane, że linia ich zdawała się posiadać doskonałą gradację, w rodzaju tej, jaka w kolorach, zapachach, smakach budzi w nas często specjalną rozkosz. Ale trzeba mi było przybyć aż tutaj, aby poznać przyjemność związaną z wchodzeniem i schodzeniem, jak niegdyś musiałem się znaleźć w alpejskiej miejscowości klimatycznej, aby się przekonać, że niedostrzegany zazwyczaj akt oddychania może być ciągłą rozkoszą. Odczułem tę folgę<sup>131</sup> w wysiłku, daną nam jedynie przez rzeczy, do których przywykliśmy od dawna, kiedyś pierwszy raz postawił nogi na tych stopniach, poufałych, zanim je znałem, tak jakby posiadały — może złożoną i wcieloną w nie przez dawniejszych panów, których przyjmowały co dnia — antycypowaną słodycz nienabytych jeszcze przeze mnie przyzwyczajęń, słodycz zdolną jedynie osłabnąć, skoro się z nią oswoję.

Otworzyłem pokój, podwójne drzwi zamknęły się za mną, draperia wpuściła milczenie, nad którym uczułem jakąś upajającą królewskość. Zdobny cyzelowanym mosiądzem marmurowy kominek — błędem byłoby przypuszczać, że ten kominek umiał jedynie reprezentować sztukę Dyrektoriatu<sup>132</sup> — dawał i ciepło, a niski fotelik pomógł mi się grać równie wygodnie, co gdybym siedział na dywanie. Ściany tuliły pokój, oddzielając go od reszty świata; aby tam wpuścić, aby w nim zamknąć to, co mu dawało jego pełnię, rozstępowały się przed biblioteką, obejmowały zagłębienie z łóżkiem, po którego dwóch stronach kolumnki podtrzymywały lekko wyniosły sufit alkowy<sup>133</sup>. A pokój przedłużał się w głąb w dwa alkierze<sup>134</sup> równej z nim szerokości; w drugim z nich wisiał na ścianie — aby nasycić wonią skupienie, którego miało się tam szukać — rozkoszny różaniec z ziarn irysa. Drzwi, gdybym je zostawił otwarte, wchodząc do tego najdalszego schronienia, nie tylko troiły je, nie niweczając jego harmonii i nie tylko dawały memu spojrzeniu lubość przestrzeni po lubości skupienia, ale przydawały uczucie swobody do rozkoszy samotności, samotności wciąż nienaruszonej, a nie tak zamkniętej. Alkówek ta wychodziła na dziedziniec, którego miłe sąsiedztwo odkryłem ze szczęściem nazajutrz rano, ujrzawszy

<sup>130</sup>ubikacja (daw., z łac.) — miejsce; pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>folga (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Dyrektoriat — pięcioosobowy rząd Republiki Francuskiej ustanowiony w 1795, w czasie Wielkiej Rewolucji Francuskiej; także: okres działania tego rządu, tj. do zamachu stanu dokonanego przez Napoleona w 1799. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>alkowa — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju; przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>alkierz — mały, boczny pokój, często sypialny. [przypis edytorski]

go zamkniętym — niby piękną samotnicę — między wysokimi murami bez okien. Rosły tam tylko dwa pożółkłe drzewa, dające czystemu niebu jakąś słodycz lila.

Zanim się położyłem, zapragnąłem wyjść z pokoju, aby zbadać całą swoją bajkową dziedzinę. Szedłem długą galerią, niosącą mi w darze wszystko, co mi mogła ofiarować w razie bezsenności: fotel w kącie, szpinet<sup>135</sup>, na konsoli<sup>136</sup> niebieski fajansowy wazon pełen cynerarii<sup>137</sup> i w staroświeckiej ramie widmo zesłowiecznej damy z niebieskimi kwiatami w pudrowanych włosach, z bukietem goździków w ręce. Kiedym doszedł do końca, ściana bez drzwi powiedziała mi naiwnie: „Teraz trzeba wracać; ale widzisz, jesteś tu u siebie”, podczas gdy puszysty dywan dodawał uprzejmie, że gdybym nie spał tej nocy, mógłbym doskonale przyjść tu boso, a okna bez okiennic wyglądające na pole zapewniały mnie, że będą czuwały całą noc i że nawet zjawiając się o jakiej bądź porze, nie potrzebuję się bać, bym kogoś obudził. Za drzwiczkami w ścianie zauważyłem jedynie mały gabinetek: wstrzymany ścianą i nie mogąc uciec, ukrył się tam markotny i patrzył na mnie wystraszony swoim okrągłym okienkiem zblęknionym przez księżyc.

Położyłem się, ale obecność pierzyny, kolumnienek, kominka, napinając moją uwagę w stopniu nieznanym mi w Paryżu, nie pozwoliła mi się oddać zwykłej włóczędze marzeń. Że zaś ten szczególnie stan uwagi, zagarniając sen i działając nań, zmienia go, dociąga go do tej czy innej serii wspomnień, obrazy moich sennych marzeń owej pierwszej nocy wylaniały się z pamięci zupełnie odmiennej od tej, z której zwykle czerpał mój sen. Gdybym nawet, śpiąc, skłonny był pożegłować w stronę mej zwykłej pamięci, łóżko, do którego nie był przyzwyczajony, łagodna baczność towarzysząca nieodzownie moim ruchom, kiedym się obracał, wystarczały, aby naprostować lub podtrzymać nowy wątek moich snów.

Ze snem jest tak jak z percepcją świata zewnętrznego. Wystarczy lada zmiany w naszych przyzwyczajeniach, aby go uczynić poetycznym; wystarczy, abyśmy, rozbierając się, zasnęli niechcący na łóżku, aby się proporcje snu zmieniły, dając nam odczuć jego piękno. Budzimy się, widzimy na zegarku czwartą, to dopiero czwarta rano; ale nam się zdaje, że już spłynął cały dzień, tak bardzo ten kilkuminutowy sen, któregośmy nie szukali, wydaje się nam mocą jakiegoś boskiego prawa zesłany z nieba, olbrzymi i pełny niby złote jabłko cesarza.

Rano, kiedym się frasował, że dziadek dawno jest gotów i że czekają na mnie, aby się wybrać w stronę Méséglise, obudziła mnie fanfara pułku, który co dzień przejeżdżał pod moimi oknami. Ale parę razy — i mówię to tutaj, bo niepodobna dobrze oddać czyjegoś życia, jeżeli się go nie skąpie w śnie, w którym się ono nurza i który noc po nocy opływa je tak jak morze otacza półwysep — odgradzający mnie sen był dość oporny, aby wytrzymać uderzenie muzyki, tak że nie słyszałem nic. W inne dni ustępował na chwilę: ale moja świadomość — jeszcze powleczone snem, jak owe znieczulone wprzód narządy, którym przyżeganie, zrazu nieodczuwane wcale, daje się uczuć dopiero przy samym końcu w postaci lekkiego sparzenia — doznała jedynie lekkiego dotknięcia ostrzy piszczalek, pieszczących ją niby lekkie i świeże świegot letni; i po tej wąskiej przerwie, w której cisza stała się muzyką, cisza ta powracała wraz z moim snem, zanim nawet dragoni przeszli, kradnąc mi ostatnie rozkwitłe pęki dźwięcznego bukietu. A strefa mojej świadomości, którą musnęły tryskające gałązki, była tak wąska, tak spowita snem, że później, kiedy Saint-Loup mnie pytał, czym słyszał muzykę, nie byłem już pewny, czy dźwięk fanfary nie był takim samym urojeniem jak ten, który słyszałem w dzień unoszący się po najmniejszym hałasie nad brukiem. Może słyszałem go jedynie we śnie z obawy przebudzenia się lub, przeciwnie, z obawy, że się nie zbudzę i nie zobaczę defilady. Bo często, kiedy spałem w chwili, gdym myślał, że hałas byłby mnie obudził, przez godzinę jeszcze — wciąż drzemiąc — myślałem, że nie śpię, i na ekranie swojego snu komponowałem sobie z nikłych cieni rozmaite widowiska, w których ten hałas mi przeszkadzał, ale których złuda trwała we mnie.

<sup>135</sup>szpinet — dawny instrument muzyczny, odmiana klawesynu. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>konsola — ozdobny stolik umieszczany zwykle pod lustrem; także kolumnienka służąca jako podstawa, do umieszczania na niej wazonu, zegara itp. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>cyneraria — roślina z rodziny astrowatych o purpurowoczerwonych kwiatach z żółtym środkiem. [przypis edytorski]

Zdarza się w istocie z nadejściem snu, że to, co zrobilibyśmy w dzień, spełniamy jedynie we śnie, to znaczy po zboczeniu w sen, idąc inną drogą, niżby się to zrobiło na jawie. Ta sama historia skręca i ma inny koniec. Mimo wszystko świat, w jakim żyjemy we śnie, jest tak odmienny, że ludzie, którym trudno jest zasnąć, starają się przede wszystkim wyjść z naszego świata. Walkując rozpaczliwie przez całe godziny z zamkniętymi oczami myśli podobne do tych, jakie by mieli z otwartymi oczami, nabierają otuchy, skoro spostrzegą, że ostatnia minuta była brzemienna rozumowaniem zupełnie sprzecznym z prawidłami logiki, z oczywistością danego momentu; ta krótka „absencja” znaczy, że uchylila się brama, przez którą zdołają się może za chwilę wymknąć rzeczywistości, przycupnąć gdzieś mniej lub więcej z dala od niej, co im da mniej lub więcej „dobry” sen. Ale już uczyniliśmy wielki krok, kiedy się obrócimy plecami do rzeczywistości i kiedy dosięgniemy pierwszych czeluści, gdzie „autosugestie” na kształt czarownic przyrządzają piekielną potrawkę urojonych chorób lub pogorszenia się nerwic i czatują na godzinę, gdy ataki naciągnięte niby sprężyna w czasie nieświadomego snu, odprężą się nagle dość silnie, aby go przerwać.

Niedaleko stamtąd znajduje się zamknięty ogród, gdzie rosną, jak nieznanne kwiaty, sny tak różne od siebie wzajem: sen datury<sup>138</sup>, konopi indyjskich, rozlicznych wyciągów eteru, sen belladonna<sup>139</sup>, opium, waleriany; kwiaty zwinięte do dnia, gdy predestynowany wędrowiec dotknie ich, rozwinie je i na długie godziny wyzwoli aromat ich marzeń w swojej zachwyconej i zdumionej duszy. W głębi ogrodu jest klasztor z otwartymi oknami, gdzie słyszy się powtarzane przed zaśnięciem lekcje, które będziemy umieli dopiero przy obudzeniu; podczas gdy, niby wróżba tego przebudzenia, powtarza swoje „tik tak” ów wewnętrzny budzik, który poczucie nasze nastawiło tak dobrze, że kiedy służąca przyjdzie nam powiedzieć: „Jest siódma”, już nas zastanie gotowych. Na ciemnych ścianach tego pokoju otwierającego się na sny, gdzie pracuje bez przerwy owo zapomnienie miłosnych zgrzyot, którego pracę, szybko na nowo podjętą, przerywa czasem i niszczy koszmar przypomnień, wiszą nawet po przebudzeniu się wspomnienia snów, ale tak mroczne, że często spostrzegamy je pierwszy raz aż w pełne popołudnie, kiedy je przypadkowo uderzy promień jakiejś pokrewnej myśli; niektóre już harmonijnie jasne, podczas gdyśmy spali, ale obecnie tak zmienione, że nie poznawszy ich, możemy tylko co prędzej oddać je ziemi, jak nazbyt rychło rozkładające się trupy lub przedmioty tak zniszczone i zmurszałe, iż najbieglejszy konserwator nie potrafiłby im przywrócić kształtu i zrobić z nich czegoś.

Opodal kraty znajduje się kopalnia, gdzie głębokie sny zachodzą szukać substancji nasycających głowę materią tak twardą, że aby obudzić śpiącego, własna jego wola zmuszona jest, nawet w złoty ranek, walić toporem niby młody Zygfryd<sup>140</sup>. Dalej jeszcze są zwidzenia, o których lekarze niedorzecznie twierdzą, że bardziej męczą niż bezsenność, wówczas gdy one, przeciwnie, pozwalają naszej myśli wyzwolić się z uwagi; koszmary ze swymi fantazyjnymi albumami, gdzie nasi zmarli rodzice ulegają ciężkiemu wypadkowi, niewykluczającemu rychłego wyleczenia. Na razie trzymamy ich w klatce na szczury, przy czym mniejsi są niż białe myszki; pokryci wielkimi czerwonymi pryszczami, z których każdy strojny jest w piórko, zwracają do nas cycerońskie<sup>141</sup> oracje. Obok tego albumu znajduje się kręcący się dysk przebudzenia, dzięki któremu grozi nam przez chwilę ta przykrość, że musimy za chwilę wrócić do zburzonego od pięćdziesięciu lat domu, którego obraz — w miarę jak sen się oddala — zacierają inne domy, zanim dojdziemy do tego, który się zjawi dopiero po zatrzymaniu się dysku, utożsamiony z tym, który ujrzemy otwartymi oczami.

Czasem nie słyszałem nic, pogrążony we śnie z rodzaju snów, w które wpadamy niby w czeluść, szczęśliwi, gdy się z niej wydostaniemy nieco później; sen ciężki, obżarty, trawiący wszystko to co nam — na kształt nimf karmiących Herkulesa — przyniosły owe zwinne roślinne potęgi, działające ze zdwojoną energią w czasie, gdy śpimy.

<sup>138</sup>datura — bieleń, rodzaj roślin z Ameryki, używanych przez Indian do wywoływania halucynacji. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>belladonna — pokrzyk wilcza jagoda; roślina trująca, powodująca m.in. omamy wzrokowe i słuchowe. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>Zygfryd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>cyceroński — taki jak u Cycerona (106–43 p.n.e.), najwybitniejszego rzymskiego mówcy, także pisarza, filozofa i polityka. [przypis edytorski]

Nazywa się to snem ołowianym; zdaje się, że człowiek sam stał się na kilka chwil po przerwaniu takiego snu człowiekiem z ołowiu. Nie jest się nikim. Jakim cudem, szukając swojej myśli, swojej osobowości, tak jak się szuka zgubionego przedmiotu, odnajdujemy wówczas w końcu swoje „ja” raczej niż jakiegokolwiek inne? Czemu kiedy zaczniemy na nowo myśleć, wciela się w nas osobowość nie inna niż poprzednia? Nie wiadomo, co nam dyktuje ten wybór i czemu, pośród milionów istot ludzkich, którymi moglibyśmy być, trafiamy właśnie na tę, którą byliśmy wczoraj. Co nami kieruje w odnalezieniu się po tej przerwie (spowodowanej głębokością snu lub odrębnością marzeń sennych, całkowicie od nas różnych)? Była to naprawdę śmierć, jak wówczas kiedy serce przestało bić i kiedy miarowe wyciąganie języka wraca nas do życia. Bez wątplenia jakiś pokój, choćbyśmy go widzieli tylko raz, budzi wspomnienia, których czepiają się inne, dawniejsze. Albo też spały może w nas samych pewne wspomnienia, dochodzące naszej świadomości? Zmartwychwstanie przy przebudzeniu — po tym dobroczynnym napadzie obłądzenia, jakim jest sen — musi być w gruncie podobne do procesu, mocą którego odnajdujemy zapomniane nazwisko, wiersz, melodię. I może zmartwychwstanie duszy po śmierci dałoby się pojąć jako zjawisko pamięci.

Kiedym się wreszcie rozbudził, wabiony słonecznym niebem, ale zrażony chłodem owych ostatnich poranków, promiennych i mroźnych, zwiastujących zimę, spoglądałem na drzewa, gdzie liście były zaznaczone tylko paroma plamami złota lub czerwieni, jak gdyby zawieszonymi w powietrzu, w niewidzialnej osnowie. Podnosiłem głowę i wyciągałem szyję, z ciałem półokrytym kołdrą; niby poczwarzka w trakcie przeobrażania się, byłem podwójną istotą, której poszczególne części wymagały różnych środowisk; oczom moim wystarczał kolor bez ciepła, za to moja pierś łaknęła jedynie ciepła, nie zaś koloru. Wstawałem dopiero wtedy, kiedy ogień płonął, i patrzyłem na łagodny i przejrzysty obraz złocistoliliowego poranku, któremu sztucznie przydawałem brakującą cząstkę ciepła, poruszając pogrzebaczem ogień płonący i dymiący na kształt dobrej fajki i dający mi jak fajka przyjemność — grubą zarazem, bo polegała na rozkoszy materialnej, i delikatną, bo za nią znaczyła się czysta wizja.

Gotowalnia<sup>142</sup> moja była obita żywoczerwoną tapetą w białe i czarne kwiatki, z którymi oswojenie powinno mi było przyjść dość trudno. Ale wydały mi się tylko nowe: zmusiły mnie jedynie do wejścia z nimi w styczność, nie zaś w zatarg; odmieniły jedynie wesołość i melodie mego wstawania, wsadziły mnie przemocą jakby w kielich maku, z którego patrzyłem na świat, widząc go zgoła inaczej niż w Paryżu, z owego wesołego parawanu, jakim był ten nieznanany dom, inaczej położony od domu rodziców i skąpany w czystym powietrzu.

Bywały dni, gdy nękała mnie potrzeba ujrzenia babki, obawa, czy nie jest cierpiąca; lub pamięć jakiejś uprzykrzonej sprawy pozostawionej w Paryżu; czasem jakieś kłopoty, w które nawet tutaj potrafiłem się wpakować. Któraś z tych trosk nie dała mi spać; byłem bez siły przeciw memu smutkowi, który w jednej chwili wypełniał mi całe istnienie. Wówczas posyłałem kogoś z hotelu do koszar z bilecikiem do Roberta; prosiłem go, jeżeli mu to jest fizycznie możliwe — wiedziałem, że to jest bardzo trudne — aby był tak dobry i przyszedł na chwilę. Za godzinę przybywał; słysząc jego dzwonek, czułem się wyzwolony ze swoich trosk. Wiedziałem, że o ile one są silniejsze ode mnie, on jest silniejszy od nich; uwaga moja odrywała się od nich i obracała się ku niemu, mającemu decydować. Już wszedł i już napełnił pokój falą powietrza, w którym rozwijał tyle energii od rana; atmosferą bardzo różną od mojego pokoju, do której dostrajałem się natychmiast przez stosowne reakcje.

— Nie gniewasz się, mam nadzieję, że cię niepokoił; jest coś co mnie dręczy, powinienś być to zgadnąć.

— Ależ nie; myślałem po prostu, że masz ochotę mnie widzieć, i bardzo mnie to ucieszyło. Byłem niezmiernie rad, żeś mnie wezwał. Ale co? Jakoś nietęgo się miewasz? Czym ci mogę usłużyć?

Słuchał moich wyjaśnień, odpowiadał z precyzją, ale nim jeszcze przemówił, upodobał mi się; przy poważnych zajęciach, które go czyniły tak spieszącym się, tak ruchliwym i wesołym, przykrości wypełniające mnie przed chwilą nieustannym cierpie-

<sup>142</sup>gotowalnia (daw.) — pokój do ubierania się. [przypis edytorski]

niem wydawały mi się, jak jemu, czymś blahym; byłem jak człowiek, co, nie mogąc otworzyć oczu od kilku dni, sprowadza lekarza, który łagodnie i zręcznie rozwiera mu powieki i pokazuje wyjęte ziarnko piasku; chory jest wyleczony i uspokojony. Wszystkie moje udręki rozwiązywała depesza, którą Saint-Loup podejmował się wysłać. Życie zdawało mi się tak inne, tak piękne, byłem przepelniony takim nadmiarem siły, żem pragnął działać.

— Co ty teraz robisz? — pytałem Roberta.

— Muszę cię opuścić, bo za trzy kwadranse wymarsz, potrzebują mnie.

— To był dla ciebie wielki kłopot przyjść tutaj?

— Nie, żaden kłopot, kapitan był bardzo uprzejmy; powiedział, że z chwilą gdy chodzi o ciebie, powinienem iść, ale ostatecznie nie chcę, aby się wydawało, że tego nadużywam.

— A gdybym wstał prędko i wybrał się na własną rękę w okolice, gdzie macie ćwiczenia? To by mnie bardzo interesowało, a w pauzach moglibyśmy może gawędzić sobie.

— Nie radzę ci: nie spałeś, nabiłeś sobie głowę czymś, co, ręcąc ci, nie ma żadnego sensu; zatem teraz, kiedy cię to już nie dręczy, obróć się do ściany i śpij, co ci wybornie zrobi na demineralizację twojej tkanki nerwowej. Ale nie zasypiaj zbyt szybko, bo ta szelma muzyka będzie przechodziła pod twoimi oknami, ale potem już będziesz miał spokój. Zobaczymy się wieczorem na obiedzie.

Ale z czasem, później, chodziłem często przyglądać się, jak pułk odbywa ćwiczenia w polu, wówczas kiedy zaczął interesować teoriami wojskowymi, jakie rozwijali przy obiedzie przyjaciele Roberta, i kiedy oblegało mnie pragnienie ujżenia z bliska ich różnych przełożonych. Tak ktoś, kto żyje muzyką i wysiada na koncertach, znajduje przyjemność w tym, aby zachodzić do kawiarni, w której może obserwować życie członków orkiestry. Aby dotrzeć na teren ćwiczeń, musiałem robić daleki marsz. Wieczorem, po obiedzie, głowa opadała mi chwilami z senności. Nazajutrz spostrzegłem, żem nie słyszał fanfary, tak samo jak w Balbec, po wieczorze z Robertem w Rivebelle, nie słyszałem koncertu na plaży. I w chwili, gdym chciał wstać, odczuwałem rozkoszny bezwład; czułem się wrośnięty w niewidzialny i głęboki grunt siecią muskularnych i odżywczych korzonków, odczuwanych dzięki zmęczeniu. Czułem się pełen sił, życie rozciągało się przede mną dłuższe, bo też cofnąłem się w błogosławione znużenia mego dzieciństwa w Combray, nazajutrz po spacerach w stronę Guermantes. Poeci twierdzą, że zachodząc do jakiegoś domu, do jakiegoś ogrodu, gdzieśmy żyli za młodu, odnajdujemy się na chwilę takimi, jakimi byliśmy niegdyś. To są bardzo ryzykowne pielgrzymki, często przynoszące zawód. Pewniejsze jest odnajdywać w sobie samym miejsca stałe, współczesne różnym latom. Do tego mogą się nam zdać poniekąd wielkie zmęczenia, po których następuje dobra noc. Ale te, dając nam zstąpić w najgłębsze podziemne labirynty snu, gdzie żaden odbłask jawy, żaden błysk pamięci nie oświeca już wewnętrznego monologu, o ile on w ogóle tam nie ustaje — wywracają tak dokładnie grunt i martwicę naszego ciała, że dają się nam odnaleźć tam, gdzie nasze mięśnie zanurzają i skręcają swoje odnogi i wsysają nowe życie, ogród, gdzieśmy spędzili dzieciństwo. Nie trzeba podróży na to, aby go ujrzeć na nowo; aby go odnaleźć, trzeba zastąpić w głąb. To, co przykryła ziemia, nie jest już na niej, ale pod nią; aby zwiedzić umarłe miasto, nie wystarczy wycieczki, trzeba kopać w ziemi. Ale czytelnik ujrzy, o ile ulotne i przypadkowe wrażenia lepiej jeszcze wiodą w przeszłość, z subtelniejszą precyzją, lotem lżejszym, bardziej niematerialnym, bardziej zawrotnym, nieomylnym, bardziej nieśmiertelnym niż te organiczne przemieszczenia.

Czasem byłem jeszcze bardziej zmęczony: asystowałem, nie mogąc się położyć, ćwiczeniom przez kilka dni. Jakże błogi był wówczas powrót do hotelu! Wracając do swego łóżka, miałem uczucie, żem się w końcu wyrwał czarownikom, wróżom podobnym do tych, jacy zaludniają „romanse” ukochane przez nasz wiek XVII. Sen i wylegiwanie się nazajutrz rano były już tylko uroczą baśnią. Uroczą, może i dobroczynną. Powiadałem sobie, że dla najgorszych cierpień istnieje miejsce azylu, że zawsze można w braku czegoś lepszego — znaleźć spokój. Te myśli prowadziły mnie bardzo daleko.

W dni, kiedy nie było ćwiczeń, a Saint-Loup nie mógł mimo to wyjść, odwiedzałem go często w koszarach. Znajdowały się daleko; trzeba było wyjść z miasta, przebyć wiadukt, po którego obu stronach rozciągał się szeroki widok. Silny wiatr dął prawie zawsze na tym wyżu i wypełniał wszystkie budynki koszar, huczące wciąż niby jaskinia wiatrów. Czekałem na Roberta, zatrudnionego służbowo, przed jego drzwiami albo

w refektarzu<sup>143</sup>, rozmawiając z jego przyjaciółmi (później odwiedzałem ich czasem, nawet gdy Roberta miało nie być); widziałem przez okno w dole nagie pola; tu i ówdzie nowe zasiewy, często jeszcze mokre od deszczu i oświetlone słońcem, tworzyły zielone pasy, błyszczące i przezroczyste jak emalia. Słyszałem często, jak mówią o Robercie: rychło zdałem sobie sprawę, jak był popularny i lubiany. U wielu rekrutów z innych szwadronów, bogatych mieszczańskich synów, którzy widywali wielki świat jedynie z daleka i nie mając doń dostępu, sympatia, jaką w nich budziły przymioty Roberta, urastała jeszcze od uroku jego sfery. Często, bawiąc na przepustce w Paryżu, widzieli go, wieczorzącego w Café de la Paix z księciem d'Uzès i z księciem Orleanu. I z tej przyczyny jego ładna twarz, jego niedbały sposób chodzenia, kłaniania się, z nieustannie fruującym monoklem, jego nieprzepisowe, zbyt wysokie kepi, pantalon<sup>144</sup> ze zbyt cienkiego i zbyt różowego sukna, zrosły się im z pojęciem „szyku”. Odmawiali tego szyku innym, najbardziej eleganckim oficerom pułku; nawet majestatycznemu kapitanowi, któremu zawdzięczałem pierwszy nocleg w koszarach, a który wydawał się w porównaniu z Robertem zbyt nadęty, niemal pospolity.

Któryś mówił, że kapitan kupił nowego konia.

— Może kupować koni, ile tylko zechce! Spotkałem Roberta de Saint-Loup w niedzielę rano w alei des Acacias: ten dopiero ma szyk na koniu! — odparł drugi; a znał się na tym, bo ci młodzi ludzie należeli do klasy, która jeżeli nie bywa w tym samym świecie co Saint-Loup, to jednak dzięki pieniądзом i wczasom nie ustępuje arystokracji w znajomości wszystkich elegancji, jakie się da kupić. Co najwyżej elegancja ich miała (w tym na przykład, co się tyczyło stroju) coś bardziej wyszukanego, nieskazitelnego niż swoboda i niedbała elegancja Roberta, która się tak podobała mojej babce. Dla tych bankierskich synków, zajądających się ostrzygami po teatrze, widzieć przy sąsiednim stole podoficera Saint-Loup to była pewna emocja. I ileż opowiadań w koszarach w poniedziałek po powrocie z urlopu! Jednemu, koledze ze szwadronu, Robert uklonił się bardzo przyjaźnie; drugi, z innego szwadronu, twierdził, że Saint-Loup i tak go poznał, bo parę razy wycelował monokl w jego stronę.

— Tak, mój brat widział go w „La Paix” — powiadał inny, który spędził dzień u swojej kochanki. — Zdaje się nawet, że miał za luźny frak, nieszczególnie skrojony.

— Jaką miał kamizelkę?

— Nie białą, ale lila w jakieś palmy, bajeczna!

Żołnierze, ludzie prości, niemający pojęcia o Jockey Clubie, zaliczali Roberta jedynie do kategorii podoficerów bardzo bogatych, w której to kategorii mieścili wszystkich, co — zrujnowani lub nie — żyli na pewnej stopie, mieli okazałą sumę dochodów lub długów i byli hojni dla żołnierzy. Dla tych — chód, monokl, spodnie, kepi Roberta, w których zresztą nie widzieli nic arystokratycznego, miały swoją ważność i znaczenie. We właściwościach tych poznawali charakter, styl, który raz na zawsze wyznaczyli temu najpopularniejszemu z podoficerów, wzięcie niepodobne do żadnego innego, pogardę dla opinii władz, co się tym prostym ludziom wydawało naturalną konsekwencją dobroci Roberta dla żołnierzy. Ranna kawa w izbie lub popołudniowa sjesta na łóżku lepiej smakowały, kiedy jakiś „starszy” uraczył łakomą i leniwą drużynę nowym, smakowitym szczegółem o kepi Roberta.

— Takie wysokie jak moja walizka.

— Daj spokój, stary, ty chcesz z nas strugać wariatów, nie mogło być takie wysokie jak twoja walizka — przerwał młody maturzysta, który posługując się tym dialektem, starał się nie wyglądać na frajera, ryzykując zaś ten sprzeciw, chciał wywołać potwierdzenie faktu, którym był zachwycony.

— Aha, nie takie wysokie jak moja walizka. Tyś je może mierzył. Powiadam ci, podpułkownik fiksował go tak, jakby go chciał posłać do paki. I nie myśl sobie, że ten sakramencki Saint-Loup robił sobie co z tego; chodził sobie tędy i owędy, spuszczał głowę, podnosił głowę, wciąż z tym fruującym monoklem. Zobaczmy, co powie kapitan. Ha, możebne — nie powie nic; ale to pewne, że kontent<sup>145</sup> nie będzie. Ale to kepi to jeszcze nic. Podobno u siebie w domu on ma ich więcej niż trzydzieści.

<sup>143</sup>refektarz — jadalnia w klasztorze lub seminarium duchownym. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>pantalon (z fr., daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>kontent (przestarz.) — zadowolony. [przypis edytorski]

— Jak ty to wiesz, stary? Przez naszego cholernego kaprala? — pytał młody maturzysta, z pedantyzmem paradygując nowymi formami, których nauczył się niedawno i którymi lubił ozdabiać konwersację.

— Jak wiem? Przez jego ordynansa, u licha.

— Myślę, że temu to się musi dziać wcale nieźle.

— Ma się wi! Ma więcej forsy ode mnie, to pewne. I daje mu swoje rzeczy, i wszystko. Nie dawali mu dosyć w kantynie. I nasz Saint-Loup przychodzi i dopiero kucharz wysłuchał za swoje: „Ja chcę, żeby on był dobrze żywiony, niech kosztuje, co chce”.

I stary zupak uzupełniał blahość słów energią akcentu, przy czym ta mierna imitacja odniosła kolosalny sukces.

Wyszedszy z koszar, robiłem mały spacer, po czym, nim przyszła chwila, w której szedłem co dzień na obiad z Robertem do restauracji, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, udawałem się, skoro tylko słońce zaszło, do hotelu, aby przez dwie godziny odpocząć trochę i poczytać. Na rynku wieczór kładł na stromych dachach zamku różowe chmurki w kolorze cegieł i spajał je z nimi, łagodząc ton cegieł swoim odbłaskiem. Taki strumień życia napływał mi do nerwów, że żaden mój ruch nie mógł go wyczerpać, każdy krok, dotknąwszy ulicznego bruku, odskakiwał: zdawało mi się, że mam u stóp skrzydła Merkurego<sup>146</sup>. Jedna fontanna była pełna czerwonego światła, gdy w drugiej księżyc dawał już wodzie kolor opalu. Pomiedzy nimi bawiły się dzieci, krzycząc, biegając w kółko, posłuszne jakiemuś nakazowi godziny, na kształt jerzyków lub nietoperzy. Obok hotelu, dawne pałace i oranżeria Ludwika XVI<sup>147</sup> — obecnie Kasa Oszczędności i Komenda Korpusu — oświecone były od wewnątrz bladzielistymi ampulkami już zapalonego gazu. Płomyki te, w jasnym jeszcze dniu, wdzięcznie stroiły te wysokie i szerokie okna z XVIII wieku, gdzie nie zatarł się jeszcze ostatni odbłask zachodu, niby jasny szylkretowy<sup>148</sup> stroik na głowie nieco podbarwionej różem. Światło to zachęcało mnie, abym spieszył do swojego kominka i do lampy, która sama jedna w fasadzie mojego hotelu walczyła ze zmierzchem i dla której wracałem, nim zapadnie noc, z rozkoszą, niby na podwieczorek. Zachowywałem w swoim pokoju tę samą pełnię wrażeń, jaką miałem wpród na dworze. Wzdymała ona tak suto kształt powierzchni, które się nam często wydają płaskie i puste, żółty płomień ognia, sinawy papier nieba, na którym, na kształt uczniaka, wieczór nabazgrał floresy czerwonym ołówkiem, osobliwy deseń serwety na okrągłym stole, gdzie czekała mnie libra papieru i kałamarz obok powieści Bergotte'a, że odtąd przedmioty te nadal wydają mi się bogate w swoiste życie, które — takie mam wrażenie — umiałbym w nich wywołać, gdyby mi je było dane odnaleźć.

Myślałem z radością o tych koszarach, którym dopiero co opuścił i na których chorażewka kręciła się jak szalona na wietrze. Jak nurka oddychanie rurą biegnącą aż ponad powierzchnię wody, tak mnie te koszary wiązały ze zdrowym życiem, ze świeżym powietrzem: czułem niby punkt oparcia w tym wysokim obserwatorium, górującym nad polami przeciętymi zieloną emalią kanałów. Tam, w tych szopach i budynkach, miałem ten szacowny przywilej — jakże pragnąłem zachować go na stałe! — że mogłem zjawić się, kiedy zechcę, zawsze pewien dobrego przyjęcia.

O siódmej ubierałem się i szedłem na obiad spotkać się z Robertem w restauracji, gdzie się stołował. Lubilem chodzić tam pieszo. Ciemność była głęboka. Od trzeciego dnia mego pobytu zaczął dąć zaraz z zapadnięciem nocy lodowaty wiatr, zwiastun śniegu. Zdawało się, że w drodze powinien bym bez ustanku myśleć o pani de Guermantes; wszak wybrałem się do Roberta tylko po to, aby się do niej zbliżyć. Ale wspomnienie, zgryzota są ruchome. Są dni, w których odchodzą tak daleko, że ledwie je dostrzegamy, sądzimy, że już sobie poszły. Wówczas zwracamy uwagę na inne rzeczy. Ulice tego miasta nie były jeszcze dla mnie (jak są tam, gdzie mieszkamy stale) jedynie środkami przenoszenia się z miejsca na miejsce. Życie mieszkańców tego nieznanego świata wydawało mi się czymś cudownym; często oświetlone szyby jakiegoś domu zatrzymywały mnie długo w miejscu

<sup>146</sup>*Merkury* (mit. rzym.) — posłaniec bogów, opiekun kupców, podróżników i złodziei, odpowiednik gr. Hermesa; przedstawiany w sandałach ze skrzydłami, dzięki którym szybko się przemieszczał. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>*Ludwik XVI* (1754–1793) — król Francji (od 1774) z dynastii Burbonów, ścięty w okresie Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>*szylkretowy* — wykonany z szylkretu, tworzywa pozyskiwanego ze skorup żółwi morskich. [przypis edytorski]

w ciemnościach nocy, ukazując moim oczom autentyczne a tajemnicze sceny istnień, w których nie miałem udziału. Tu geniusz ognia pokazywał mi w purpurowym obrazie szynkownię, gdzie dwaj podoficerowie, złożwszy kupę<sup>149</sup> na krzesłach, grali w karty, nie domyślając się, że czarodziej wywołuje ich z nocy, niby duchy w teatrze, w postaci, w jakiej ukazywali się w tej chwili oczom niewidocznego im przechodnia. W antykwarskim sklepiku na wpół wypalona świeca, oświetlając czerwonym blaskiem jakiś sztych, zmieniała go w sangwinę<sup>150</sup>, podczas gdy, walcząc z cieniem, jasność dużej lampy opalała kawał skóry, pokrywała sztylet błyszczącymi pajątkami, na lichych kopiach obrazów kładła szacowne złoto niby patynę wieków lub werniks mistrza, czyniąc z tej nory, zawierającej samą tandetę, bezcennego Rembrandta<sup>151</sup>. Czasami rzucałem wzrok w głąb jakiegoś obszerne- go starego mieszkania z niedomkniętymi okiennicami, gdzie ziemnowodni mieszkańcy obojga płci co wieczora powracali do życia w innym żywiole niż za dnia, pływali wolno w gęstym płynie, który z nadejściem nocy sączy się bez ustanku z rezerwuaru lamp, wypełniając pokoje po brzegi ich kamiennych i szklanych ścian; i w płynie tym, przesuwając swoje ciała, tworzyli tłuste i złociste wiry.

Szedłem dalej i często w czarnej uliczce wiodącej koło katedry, jak niegdyś na drodze do Méséglise, siła mego pragnienia zatrzymywała mnie: miałem uczucie, że się wyłoni jakaś kobieta, aby je zaspokoić; kiedy w ciemności uczulem nagle przesuwaną się suknię, sama gwałtowność doznawanej rozkoszy nie pozwalała mi sądzić, że otarcie się było przypadkowe, i próbowałem chwycić w ramiona wystraszoną nieznajomą.

Ta gotycka uliczka miała dla mnie coś tak realnego, że gdybym mógł tam zdybać i posiąść kobietę, niepodobna byłoby mi nie uwierzyć, że to antyczna rozkosz ma nas połączyć, choćby nawet owa kobieta była zwykłą ulicznicą wystającą tam co wieczora; tyle użyczyłyby jej tajemnicy zima, obcość miejsca, ciemność i średniowiecze. Myślałem o przyszłości: próbować zapomnieć o pani de Guermentes wydawało mi się okropne, ale rozsądne i — po raz pierwszy — możliwe, może nawet łatwe. W absolutnej ciszy tej dzielnicy słyszałem dokoła siebie słowa i uśmiechy, pochodzące zapewne od zaproszonych winem wracających przechodniów. Zatrzymałem się, aby się im przyjrzeć, patrzyłem w stronę, skąd dochodził hałas. Ale trzeba mi było czekać długo: otaczająca cisza była tak głęboka, że z osobliwą wyrazistością i siłą przenosiła odgłosy jeszcze odległe. Wreszcie idący przeszli, nie — jak przypuszczałem — przede mną, ale daleko za mną. Czy że skrzyżowanie ulic i zgrupowanie domów spowodowało przez odbicie ten akustyczny błąd, czy że trudno jest umiejscowić dźwięk, którego źródła nie znamy, pomyliłem się zarówno co do odległości, jak co do kierunku.

Wiatr wzmagął się, był jakby zjeżony i chropawy zbliżającym się śniegiem. Wróciłem na główną ulicę i wskoczyłem do tramwaju, gdzie na platformie oficer — zdając się ich nie widzieć — odpowiadał na ukłony ciężkich żołnierzy przechodzących chodnikiem, z twarzami ufarbowanymi zimnem; w mieście, które nagły przeskok jesieni w rozpoczynającą się zimę posuwał jak gdyby o wiele dalej na północ, twarze te przywodziły na myśl czerwone gęby, jakie Breughel<sup>152</sup> daje swoim radosnym, hulaszczym i zmarzniętym wieśniakom.

Do restauracji, gdzie się miał spotkać z Robertem i jego przyjaciółmi, zbliżające się święta ściągały wiele osób z sąsiedztwa, a także obcych. Gdym miał dziedziniec odsłaniający żarzące się kuchnie, gdzie kręciły się na rożnie kurczaki, gdzie piekły się wieprze, gdzie żywe jeszcze homary rzucano w tak nazwany przez hotelarza „ogień wieczny”, tłoczyli się (niby w jakimś *Spisie ludności w Betlejem*<sup>153</sup>, jak je malowali starzy mistrze flamandzcy) przybysze, którzy, skupieni gromadkami w dziedzińcu, pytali gospodarza lub któregoś z jego pomocników (wskazującego im chętnie mieszkanie w mieście, kiedy się mu nie wydawali dość „odpowiedzialni”), czy mogą dostać posiłek i pokój, podczas gdy chłopcy biegali, trzymając za szyję szamocące się sztuki drobiu. I w wielkiej sali jadalnej

<sup>149</sup>kupa (daw.) — pas; sprzączka u pasa. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>sangwina — brunatny odcień czerwieni przypominający kolor krwi (łac. *sanguis*). [przypis edytorski]

<sup>151</sup>Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>Breughel, *Pieter* (ok. 1525–1569) — niderlandzki malarz i rysownik; wiele jego obrazów przedstawia sceny rodzajowe rozgrywane się w środowisku chłopskim. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>*Spis ludności w Betlejem* — obraz Pietera Bruegla Starszego z 1566, przedstawiający wydarzenie z Ewangelii wg świętego Łukasza w zimowej scenarii niderlandzkiego miasteczka. [przypis edytorski]



(którą przebyłem pierwszego dnia, zanim dotarłem do pokoiku, gdzie mnie oczekiwał przyjaciel) również przypominał się posiłek z Ewangelii, wyobrażony z naiwnością dawnych wieków i z przesadą Flamandów. Przywodziła go na myśl mnogość ryb, pulard<sup>154</sup>, bażantów, bekasów, gołębi, dymiących, wnoszonych w całej paradzie przez zdyszanych garsonów<sup>155</sup>, którzy ślizgali się dla pośpiechu po posadzce i stawiali je na olbrzymiej konsoli, gdzie je natychmiast krajano, ale gdzie — ile że wiele obiadów dobiegało końca w chwili, gdy się zjawiał — gromadziły się nieużyte, jak gdyby ich obfitość i pośpiech służby odpowiadały nie tyle potrzebom gości, ile raczej szacunkowi dla świętego tekstu, skrupulatnie przestrzegane, lecz naiwnie ilustrowane tymi realnymi szczegółami, zapożyczonymi z miejscowego życia, oraz estetycznej i religijnej trosce o uczenie święta przez obfitość wiktuałów i gorliwość służebników. Jeden z nich, stojąc na końcu sali, dumiał nieruchomy obok podręcznego kredensu; aby spytać tego właśnie (jedyne, który się wydawał dość spokojny), w którym pokoju pomieszczono nasz stół, posuwałem się między piecykami rozpalonymi tu i ówdzie, aby nie dać ostygnąć półmiskom zapóźnionych gości (co nie przeszkadzało, że w centrum sali desery trzymał w rękach olbrzymi bałwan, czasami wsparty na skrzydłach kaczkę na pozór z kryształu, a w rzeczywistości z lodu, co dnia cyzelowanego rozpalonym żelazem przez kucharza-rzeźbiarza w guście bardzo flamandzkim). Szedłem prosto, narażając się na przewrócenie w tłoku, w stronę tego służącego, w którym poznawałem jak gdyby osobistość tradycyjną w takich świętych tematach, z jej płaskonosą, naiwną i źle narysowaną twarzą, z wyrazem zadumy już jakby przeczuwającej niepodejrzewany jeszcze przez innych cud boskiej obecności. Dodajmy, iż (z pewnością z racji zbliżających się świąt) figurantowi temu przydano niebiański orszak, dobrany całkowicie z personelu cherubinów i serafinów<sup>156</sup>. Młody anioł-muzykant o blond włosach strojących czternastoletnią twarzyczkę nie grał wprawdzie na żadnym instrumencie, ale marzył przed gongiem lub przed stosem talerzy, podczas gdy mniej dziecięcy aniołowie pomykali przez olbrzymie przestrzenie sali, poruszając w niej powietrze nieustannym drżeniem serwet, zwisających wzdłuż ich ciał na kształt kończytych skrzydeł prymitywów.

Uchodząc z tych nieokreślonych regionów, przesłoniętych firanką palm, gdzie niebiańscy służebnicy robili z daleka wrażenie, że zstępują z *empireum*<sup>157</sup>, torowałem sobie drogę do salki, gdzie był stół Roberta. Zastałem tam kilku jego przyjaciół, którzy zawsze z nim jadali; wszystko szlachta, z wyjątkiem paru mieszczan, ale takich, w których ci „dobrze urodzeni” od szkolnej ławy wyczuli przyjaciół, z którymi zbliżyli się chętnie, dowodząc tym, że nie są w zasadzie wrogami mieszczan, nawet republikanów, byleby ci mieli czyste ręce i chodzili na mszę. Od pierwszego wieczoru, zanim siedliśmy do stołu, odciągnąłem Roberta w kącie przy wszystkich, ale tak, żeby nie słyszeli, rzekłem:

— Robercie, chwila i miejsce są źle obrane na to, co ci chcę powiedzieć, ale to potrwa tylko sekundę. Zawsze zapominam spytać cię o to w koszarach: czy fotografia u ciebie na stole to jest pani de Guermantes?

— Ależ tak, to jest moja dobra ciocia.

— Ach, prawda, w głowie mi się troi, wiedziałem dawniej i nigdy o tym nie pomyślałem. Mój Boże, twoi przyjaciele muszą się niecierpliwić, mówmy szybko, patrzą na nas. Albo odłożmy na inny raz, to nie ma żadnego znaczenia.

— Ależ owszem, rznij dalej, nic nie szkodzi, że zaczekają.

— Ale nie, ja chciałbym być grzeczny, oni są tacy mili dla mnie; zresztą doprawdy to nic tak ważnego.

— Ty znasz tę znaną Oriana?

Ta „zacna Oriana” — tak jakby powiedział ta „dobra Oriana” — nie znaczyła wcale, aby Robert uważał panią de Guermantes za specjalnie dobrą. W takich wypadkach „dobra”, „zacna”, „dzielna” są prostym wzmocnieniem słówka „ta”, określającego osobę, którą znają obaj, a o której nie bardzo się wie, co powiedzieć komuś, z kim się nie jest całkiem blisko.

<sup>154</sup>pularda — młoda kura, wysterylizowana i specjalnie tuczona dla uzyskania szczególnie delikatnego mięsa. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>garson (z fr.) — kelner (dosł.: chłopiec). [przypis edytorski]

<sup>156</sup>cherubini i serafini — anioły znajdujące się wysoko w hierarchii chórów anielskich. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>empireum — kosmiczne niebiosa, najbardziej zewnętrzna sfera wszechświata, będąca siedzibą Boga, miejscem pobytu aniołów i świętych. [przypis edytorski]

„Dobra” służy za przystawkę i pozwala zyskać na czasie, aż się znajdzie coś w rodzaju: „Czy ją widzisz często?”, albo: „Od wieków jej już nie widziałem”, albo: „Mam ją zobaczyć we wtorek”, albo: „Nie musi być już pierwszej młodości”.

— Nie umiem ci powiedzieć, jak mnie to bawi, że to jest jej fotografia, bo my mieszkamy teraz w jej domu i dowiedziałem się o niej niesłychanych rzeczy (byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym miał powiedzieć jakich), co sprawia, że mnie ona bardzo interesuje, z punktu widzenia literackiego, rozumiesz, nie wiem, jak się wyrazić, z punktu widzenia balzakowskiego<sup>158</sup>. Ty, taki inteligentny, rozumiesz mnie w pół słowa; ale kończmy już, co twoi przyjaciele pomyślą o moim wychowaniu!

— Ależ nic nie pomyślą; powiedziałem im, że ty jesteś bajkowy, i są o wiele bardziej onieśmieleni od ciebie.

— Doprawdy, jakiś ty pocziwy. Ale chodzi o to: pani de Guermantes nie wie, że ja cię znam, prawda?

— Nie mam pojęcia, nie widziałem jej od lata, bo nie byłem w Paryżu od czasu jej powrotu.

— Powiem ci jedno: zaręczano mi, że ona mnie ma za kompletnego idiotę.

— Och, w to nie uwierzę. Oriana nie jest orzeł, ale bądź co bądź nie jest całkiem głupia.

— Ty wiesz, że nie zależy mi wcale na tym, abys afiszował swoją przyjaźń dla mnie, bo nie jestem ani trochę próżny. Toteż żałuję, żeś mówił o mnie tak pochlebne rzeczy swoim przyjaciółom (do których przejdziemy za chwilę). Ale co się tyczy pani de Guermantes, gdybyś mógł jej zakomunikować, nawet z pewną przesadą, co o mnie myślisz, zrobiłbyś mi wielką przyjemność.

— Ależ bardzo chętnie, jeżeli tylko o to ci chodzi, to nie jest zbyt trudne; ale cóż tobie może zależeć na tym, co ona o tobie myśli? Przypuszczam, że gwizdzesz na to; w każdym razie, jeżeli to tylko tyle, będziemy mogli pomówić o tym przy wszystkich albo kiedy będziemy sami, bo boję się, żebyś się nie zmęczył, rozmawiając stojący, i to tak niewygodnie, podczas gdy mamy tyle sposobności znaleźć się sam na sam.

Ale właśnie ta niewygodność dała mi odwagę mówienia z Robertem; obecność innych była dla mnie pretekstem, pozwalającym mi formułować zdania krótko i beładnie, dzięki czemu łatwiej mogłem ukryć kłamstwo, jakiegom się dopuszczał, mówiąc przyjacielowi, że zapomniał o jego pokrewieństwie z księżną. Zarazem okoliczność ta nie zostawiała Robertowi czasu na spytanie mnie o motywy, dla których pragnę, aby pani de Guermantes wiedziała, że jestem z nim w przyjaźni, że jestem inteligentny itd., które to pytania byłyby mi niekiedy niezmiernie przykrymi, ile że nie mógłbym na nie odpowiedzieć.

— Robertcie, u ciebie, tak inteligentnego, dziwi mnie, iż nie rozumiesz, że nie trzeba rozbiierać tego, co sprawia przyjacielowi przyjemność, ale zrobić to po prostu. Ja, gdybyś mnie prosił o cokolwiek w świecie — a nawet bardzo bym pragnął, abys mnie o coś poprosił — zapewniam cię, nie żądałbym od ciebie wyjaśnień. Idę dalej niż to, czego pragnę; nie zależy mi na znajomości z panią de Guermantes, ale powinienem cię być wypróbować, powiedzieć ci, że chciałbym być zaproszony na obiad z panią de Guermantes, i wiem, że byś ty tego nie zrobił.

— Nie tylko bym zrobił, ale zrobię.

— Kiedy?

— Skoro tylko przyjadę do Paryża, pewnie za trzy tygodnie.

— Zobaczymy; zresztą ona nie zechce. Nie umiem ci powiedzieć, jak ci dziękuję.

— Ależ nie, to drobnostka.

— Nie mów mi tego, to jest olbrzymie, bo teraz widzę, jaki z ciebie jest przyjaciel; czy to, o co proszę, jest ważne czy nie, przyjemne czy nie, czy mi na tym zależy w istocie, czy tylko aby cię wypróbować, mniejsza; powiadasz, że to zrobisz, i dowodzisz tym subtelności swojej inteligencji i swego serca. Głupiec wszcząłby dyskusję.

Właśnie Saint-Loup zrobił to; ale może chciałem go wziąć przez miłość własną, może też byłem szczerzy, ile że jedynym kamieniem probierczym zasługi zdawała mi się czyjaś

<sup>158</sup>balzakowski — taki jak u Balzaka; *Honoré de Balzac* (1799–1850): francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

użyteczność dla mnie wobec jedynej rzeczy, która mi się wydawała ważna — mojej miłości. Po czym dodałem, czy to powodowany obłudą, czy szczerym przychylnym uczuciem zrodzonego z wdzięczności, z interesu i ze wszystkiego, co natura przelała z rysów pani de Guermentes w siostrzeńca jej Roberta:

— Ale trzeba nam wracać do towarzystwa, a ja poprosiłem dopiero o jedną z dwóch rzeczy, i to mniej ważną. Druga jest o wiele dla mnie ważniejsza, ale boję się spotkać z odmową: czy by to była wielka przykrość, gdybyśmy przeszli na „ty”?<sup>159</sup>

— Och, przykrość! jakże! Ależ „radość, łzy radości, nieznanne szczęście!”<sup>160</sup>

— Jak ja panu dziękuję... ci dziękuję. Kiedy pan... ty zaczniesz? To mi robi taką przyjemność, że jeżeli chcesz, możesz nic nie zrobić w sprawie pani de Guermentes, to „ty” wystarczy mi.

— Zrobi się i jedno, i drugie.

— Och! Robercie! Słuchaj — rzekłem jeszcze do Roberta podczas obiadu — och, jakie to komiczne, ta rozmowa wciąż przerywana i zresztą, nie wiem czemu — wiesz, pamiętasz tę osobę, o której ci mówiłem?

— Tak.

— Wiesz dobrze, o kim mówię?

— Ależ jakże, czy bierzesz mnie za kretyna, matolka?

— Czy nie zechciałbyś mi dać jej fotografię?

Chciałem go prosić jedynie o pożyczanie. Ale w chwili, gdym mówił, ogarnął mnie lęk, prośba moja wydała mi się zbyt śmiała; aby tego nie okazać, sformułowałem ją brutalnie i wyolbrzymiłem ją jeszcze, tak jakby była zupełnie naturalna.

— Nie, musiałbym jej wprzód poprosić o pozwolenie — odparł.

Równocześnie zacerwienił się. Zrozumiałem, że nie mówi wszystkiego, że mnie posądza o to samo, że będzie wspomagał moją miłość jedynie w pewnej mierze, w granicach pewnych zasad, i zniechęcił się do mnie w tej chwili.

A mimo to byłem wzruszony, widząc, jak bardzo Robert jest inny w stosunku do mnie z chwilą, gdym nie był z nim sam i kiedy byli przy tym jego przyjaciele. Jego wzmożona uprzejmość byłaby mi obojętna, gdybym wiedział, że jest rozmyślna; ale czułem, że jest mimowolna, złożona jedynie ze wszystkiego, co musiał mówić o mnie w mojej nieobecności, a co krył w sobie, kiedy byliśmy sami. Wówczas niewątpliwie domyślałem się przyjemności, jaką mu sprawiała rozmowa ze mną, ale przyjemność ta pozostawała prawie zawsze niewyrażona. Teraz przy tych samych moich powiedzeniach, jakimi się delectowałem zazwyczaj, nie okazując tego, zerkałem spod oka na przyjaciół, badając, czy robię efekt, na który liczył i który miał odpowiadać jego zapowiedziom. Matka debiutantki nie z większą uwagą śledzi grę córki i wrażenia publiczności. Kiedym powiedział coś, z czego, gdybyśmy byli sami, tylko by się uśmiechnął, wołał: „Jak, jak?”, aby mnie zmusić do powtórzenia i ściągnąć uwagę. I obracając się do innych, patrząc na nich ze szczerym śmiechem i mimo woli prowokując ich śmiech, pierwszy raz zdradzał przede mną pojęcie, jakie miał o mnie i jakim musiał się często dzielić z kolegami. Tak iż spostrzegłem nagle samego siebie z zewnątrz, jak ktoś, kto wyczyta swoje nazwisko w dzienniku lub ujrzy się w lustrze.

Zdarzyło mi się pewnego wieczoru, że chciałem opowiedzieć dosyć komiczną historijkę o pani Blandais, ale zatrzymałem się natychmiast, przypomniałszy sobie, że Saint-Loup już zna tę historię i że kiedym mu ją chciał opowiedzieć nazajutrz po przybyciu, przerwał mi, mówiąc: „Opowiadałeś mi to już w Balbec”. Zdziwiłem się tedy, widząc, że Saint-Loup zachęca mnie, abym mówił dalej, zapewniając, że nie zna tej historijki i że bardzo by go zabawiła. Rzekłem:

— Musiałeś zapomnieć na chwilę, ale zaraz zobaczysz, że znasz.

— Ale nie, przysięgam, że ci się pomyliło. Nigdyś mi tego nie opowiadał. Jedź.

I przez cały ciąg anegdoty wlepił gorączkowo zachwycone oczy to we mnie, to w kolegów. Dopiero kiedym skończył historijkę wśród powszechnego śmiechu, zrozumiałem,

<sup>159</sup>gdybyśmy przeszli na „ty”? — brak polskiego odpowiednika do francuskiej formy *vous* sprawił, iż tłumacz już wcześniej pozwolił się tym młodym ludziom „tykać”. Kazać im być z sobą tak długo na „pan” byłoby zbyt sztuczne. [przypis tłumacza]

<sup>160</sup>radość, łzy radości, nieznanne szczęście — słynny cytat z *Mysli* Pascala. [przypis tłumacza]

że on pomyślał, iż ona da wysokie pojęcie o mnie jego przyjaciółom i dlatego udał, że jej nie zna. To jest przyjaźń!

Trzeciego wieczora jeden z jego przyjaciół, z którym nie miałem sposobności mówić dotąd, rozmawiał ze mną bardzo długo; słyszałem później, jak półgłosem wyrażał Robertowi przyjemność, jaką w tym znalazł. W istocie, przegadaliśmy prawie cały wieczór przy stojących przed nami i zapomnianych kieliszkach sauternes<sup>161</sup>, odcięci od innych, chronieni od nich przez wspaniałe zasłony jednej z owych wzajemnych męskich sympatii, które kiedy nie mają źródła w pociągu fizycznym, są jedynym rodzajem sympatii zupełnie tajemniczej. Tak samo zagadkowe wydawało mi się w Balbec uczucie, jakie żywił dla mnie Saint-Loup, niepokrywające się z przyjemnością naszych rozmów, oderwane od wszelkich węzłów materialnych, niewidzialne, niedotykalne, którego obecność jednak odczuwał w sobie samym niby rodzaj fluidu, gazu, na tyle, aby o nim mówić z uśmiechem. A może było coś jeszcze bardziej zdumiewającego w tej sympatii, zrodzonej tutaj w ciągu jednego wieczoru, niby kwiat rozwity w ciągu kilku minut w upale tego pokoiku.

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie spytać Roberta, kiedy wspomniał o Balbec, czy to jest naprawdę postanowione, że on się żeni z panną d'Ambresac. Odpowiedział, że nie tylko nie jest postanowione, ale nigdy nie było nawet o tym mowy, nie widział tej panny na oczy, nie wie, kto to jest. Gdybym spotkał w tej chwili kogoś z tych, co mi mówili o jego małżeństwie, oznajmiłby mi związek panny d'Ambresac z kimś innym niż pan de Saint-Loup, i pana de Saint-Loup z kimś innym niż panna d'Ambresac. Bardzo bym ich zdziwił, przypominając im odmienne proroctwa, jeszcze tak świeże! Iżby ta niewinna zabawa mogła trwać i mnożyć fałszywe nowiny, piętrząc ich maksymalną ilość przy każdym nazwisku, natura dała amatorom tej zabawy pamięć tym krótszą, im łatwościerność ich jest większa.

Saint-Loup mówił mi o innym z kolegów, również obecnym, z którym czuł się szczególnie blisko, bo byli w tym środowisku jedynymi zwolennikami rewizji procesu Dreyfusa<sup>162</sup>.

— Och! on, to nie jak Saint-Loup, to fanatyk! — rzekł do mnie mój nowy przyjaciel. — On nie jest nawet szczerzy. W początkach powiadał mi: „Trzeba tylko czekać, jest tam w sztabie człowiek, którego znam dobrze, subtelny, zacny, generał de Boisdeffre<sup>163</sup>; będzie można bez zastrzeżeń polegać na jego opinii”. Ale kiedy się dowiedział, że Boisdeffre wierzy w winę Dreyfusa, już Boisdeffre był niczym; klerykalizm (powiadał), sztabowe uprzedzenia nie pozwalają mu sądzić szczerze — mimo że nikt nie był równie klerykalny przed Dreyfusem jak nasz przyjaciel! Wówczas oświadczył mi, że w każdym razie będzie się wiedziało prawdę, bo sprawa jest w rękach Saussiera<sup>164</sup> i że ten republikański żołnierz (nasz przyjaciel jest z rodziny ultramonarchistycznej) to jest człowiek z brązu, sumienie nieugięte. Ale kiedy Saussier obwieścił niewinność Esterhazego<sup>165</sup>, nasz kolega znalazł nowe komentarze do tego werdyktu, potępiające nie Dreyfusa, ale generała Saussier. Powiadał, że to duch militarystyki zaślepił Saussiera (a niech pan zważy, że on

<sup>161</sup>*sauternes* (wym.: sotern) — białe półsłodkie wino z francuskiego regionu o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Dreyfus, Alfred* (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*Boisdeffre, Raoul Le Mouton de* (1839–1919) — francuski generał, szef Sztabu Generalnego w czasie sprawy Dreyfusa; na procesie Émile'a Zoli (1898) powołał się na istnienie dodatkowego dokumentu obciążającego Dreyfusa; kiedy później ujawniono, że dokument ten był fałszerstwem spreparowanym przez oficera wywiadu francuskiego, Boisdeffre podał się do dymisji i wycofał z życia publicznego. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>*Saussier, Félix Gustave* (1828–1905) — francuski generał; w 1894 jako gubernator Paryża wydał rozkaz przeprowadzenia śledztwa w sprawie wykrytego szpiegostwa, co rozpoczęło sprawę Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>*Esterhazy, Ferdinand Walsin* (1847–1923) — major armii francuskiej, szpiegujący na rzecz Niemiec. W 1894 jego działania zostały wykryte, ale oskarżony o nie został zupełnie niewinny oficer, Alfred Dreyfus. Kiedy w 1896 odkryto dowody świadczące, że za szpiegostwo odpowiadał Etherhazy, władze wojskowe usiłowały nie dopuścić do ich ujawnienia, następnie rozdzielono sprawy obu oficerów i w styczniu 1898 postawiono Etherhazego przed tajnym sądem wojskowym, który po kilku minutach narady go uniewinnił. Doprowadziło to do nagłośnienia afery w prasie, w liście otwartym Émile'a Zoli podpisanym przez setki intelektualistów. W sierpniu 1898 Esterhazy wyjechał do Londynu, gdzie aż do śmierci był korespondentem antysemitycznej gazety „La Libre Parole”. [przypis edytorski]

sam jest zarówno militarystą, jak klerykałem, lub raczej był, bo nie wiem już teraz, co o nim sądzić). Rodzina jest w rozpacz, że on ma te poglądy.

— Widzisz — rzekłem, zwracając się na wół do Roberta, aby się nie zdawało, że się izoluję, a zarazem do jego kolegi, aby go wciągnąć do rozmowy — że wpływ, jaki przypisujemy środowisku, jest zwłaszcza prawdą w stosunku do środowiska intelektualnego. Jest się człowiekiem swojej idei; że zaś jest o wiele mniej idei niż ludzi, wszyscy ludzie jednej idei są do siebie podobni. Ponieważ idea nie ma nic materialnego, ludzie, którzy otaczają człowieka danej idei jedynie materialnie, nie zmieniają jej w niczym.

Saint-Loup nie zadowolił się tym skojarzeniem. W szale radości, zdwojonej niechybnie zadowoleniem, że mi dał sposobność błysnięcia w oczach kolegów, powtarzał nerwowo, pieszcząc mnie niby konia, który pierwszy przyszedł do mety:

— Ty jesteś najinteligentniejszy człowiek, jakiego znam, wiesz! — Poprawił się i dodał: — Obok Elstira. To cię nie drażni, prawda? Rozumiesz: ścisłość. Porównanie: mówię tak, jakby ktoś powiedział Balzacowi<sup>166</sup>: jesteś największy powieściopisarz epoki obok Stendhala<sup>167</sup>. Nadmiar skrupułu, rozumiesz; w gruncie bezgraniczny podziw. Nie? nie piszesz się na Stendhala? — dodał z naiwną wiarą w mój sąd, wyrażającą się uroczym, uśmiechniętym, prawie dziecinnym pytaniem jego zielonych oczu. — Och, tak, widzę, że jesteś mojego zdania. Bloch nie cierpi Stendhala, dla mnie to jest idiotyczne. *Pustelnia* to jednak jest niesłychane, co? Cieszę się, że jesteś mojego zdania. Co ty najbardziej kochasz w *Pustelni*, powiedz — nacierał z młodzieńczym impetem, przy czym groźna siła fizyczna Roberta dawała coś niemal przerażającego jego pytaniu — Mosca, Fabrycy?

Odpowiedziałem nieśmiało, że Mosca ma coś z pana de Norpois. Na to burza śmiechu młodego Zygryfda-Saint-Loup. Nie dokończyłem jeszcze słów: „Ale Mosca jest o wiele inteligentniejszy, mniejszy pedant”, kiedy już Robert krzyczał brawo, klaszcząc z całych sił w ręce, dusząc się ze śmiechu i wołając: „Kapitalne! Trafione w centrum! Bajeczny jesteś”.

W tej chwili Saint-Loup przerwał mi, bo jeden z młodych wojskowych wskazał na mnie, mówiąc do Roberta: „Duroc. Całkiem Duroc”. Nie wiedziałem, co to ma znaczyć, ale czułem, że wyraz onieśmiałej twarzy był więcej niż życzliwy. Kiedy mówiłem, nawet uznanie innych zdawało się Robertowi czymś zbyt cennym, żądał milczenia. I jak dyrygent przerywa muzykantom uderzeniem smyczka z powodu jakiegoś szmeru, tak on zganiał przerywającego:

— Gibergue — rzekł — trzeba umieć być cicho, kiedy ktoś mówi. Powiesz później. No, mów dalej — rzekł do mnie.

Odetchnąłem, bo już się bałem, że mi każe wszystko zacząć na nowo.

— Że zaś — ciągnąłem dalej — idea jest rzeczą niemożliwą uczestniczyć w ludzkich interesach i niezdolną dzielić ich korzyści, interes nie ma wpływu na ludzi idei.

— Słuchajcie, dzieci, to człowiek dębieje po prostu! — wykrzyknął Saint-Loup, kiedy skończył mówić. Śledził mnie oczami z tą samą niespokojną bacznością, co gdybym szedł po wyciągniętej linii. — Coś ty chciał powiedzieć, Gibergue?

— Powiadałem, że pan mi bardzo przypomina majora Duroc. Miałem wrażenie, że jego słyszę.

— Ależ i mnie to często przychodziło na myśl — odparł Saint-Loup. — Jest wiele podobieństwa, ale zobaczcie, że on ma tysiąc rzeczy, których nie ma Duroc.

Tak samo jak brat owego przyjaciela Roberta, uczeń Schola Cantorum<sup>168</sup>, miał o wszelkim nowym dziele muzycznym sąd zgoła nie taki jak jego ojciec, matka, kuzyni, koledzy z klubu, ale ściśle taki jak wszyscy inni uczniowie Schola, tak samo ów arystokratyczny sierżant (o którym Bloch — kiedy mu o nim mówiłem — powziął niezwykle pojęcie, ponieważ, wzruszony wiadomością, że należy do tego samego stronnictwa co on, wyobrażał go sobie z powodu jego arystokratycznego pochodzenia oraz religijnego i wojskowego

<sup>166</sup>Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>Stendhal, właśc. *Marie-Henri Beyle* (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najslawniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830) oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje młodego mediolańskiego szlachcica Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>*Schola Cantorum* (łac.: Szkoła Śpiewaków) — tu: Schola Cantorum de Paris, prywatna uczelnia muzyczna w Paryżu, zał. w 1896, kładąca nacisk na kultywowanie dawnej muzyki francuskiej. [przypis edytorski]

wychowania możliwie najodmienniejszym, strojnym w ten sam urok co mieszkańiec dalekiego kraju) miał „mentalność” (jak zaczynało się mówić) analogiczną do wszystkich dreyfusistów w ogólności, a Blocha w szczególności; mentalność, na którą nie mogły mieć żadnego wpływu tradycje rodzinne i względy kariery. Podobnie kuzyn Roberta de Saint-Loup ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała — powiadano — wiersze równie piękne jak wiersze Wiktora Hugo<sup>169</sup> lub Alfreda de Vigny<sup>170</sup>, a której mimo to przypisywano umysłowość inną niż to, co można było sobie wyobrazić, duszę księżniczki Wschodu zamkniętej w pałacu z *Tysiąca i jednej nocy*. Pisarze, którzy mieli szczęście zbliżenia się do niej, doznawali zawodu lub raczej radości, stwierdzając, że jej rozmowa daje pojęcie nie Szeherezady<sup>171</sup>, ale istoty pokrewnej duchem Alfredowi de Vigny lub Wiktorowi Hugo<sup>172</sup>.

Lubiłem zwłaszcza rozmawiać z tym młodym człowiekiem, jak zresztą z innymi kolegami Roberta i z samym Robertem, o koszarach, o oficerach pułku, o armii w ogóle. Dzięki tej olbrzymio powiększonej skali, w jakiej widzimy rzeczy bodaj najmniejsze, pośród których jemy, rozmawiamy, wiemy realne życie, dzięki tej straszliwej wyższe, jakiej one ulegają i która sprawia, iż nieobecna reszta świata nie może z nimi walczyć i staje się przy nich jak gdyby nikłym snem, zacząłem się interesować rozmaitymi dygnitarzami koszar, oficerami, których widywałem w dziedzińcu, kiedy zachodził do Roberta lub — o ilem się zbudził — kiedy pułk przechodził pod moimi oknami. Byłbym chciał wiedzieć coś więcej o majorze, którego tak podziwiał Saint-Loup, i o jego kursie historii wojen, który by mnie zachwycił „nawet estetycznie”. Wiedziałem, że Robert ma skłonność do werbalizmu<sup>173</sup>, który bywał nieco czczy, ale innym razem znamionował proces przyswajania sobie głębokich myśli, które bardzo był zdolny ogarnąć. Na nieszczęście, z punktu widzenia wojskowości, Roberta pochłaniała w tej chwili zwłaszcza sprawa Dreyfusa. Mówił o niej mało, bo on jeden przy tym stole był dreyfusistą; inni byli gwałtownymi przeciwnikami rewizji, wyjąwszy mego sąsiada przy stole, mego nowego przyjaciela, którego poglądy zdawały się dość niezdecydowane. Gorący entuzjasta swego pułkownika, który uchodził za wybitnego oficera, a który w licznych rozkazach dziennych napiętnował agitację przeciw armii, dzięki czemu uchodził za antydreyfusistę, sąsiad mój dowiedział się o paru jego enuncjacjach<sup>174</sup>, dających do myślenia, że pułkownik ma wątpliwości co do winy Dreyfusa i że zachował szacunek dla Picquarta<sup>175</sup>. Bądź jak bądź, co do tego ostatniego punktu pogłoski o względnym dreyfusizmie pułkownika były niecisłe, jak wszystkie pogłoski pochodzące nie wiadomo skąd, które się rodzą dokoła wszelkiej takiej „wielkiej sprawy”. Bo wkrótce potem, pułkownik ów, mając poruczone przesłuchanie eks-szefa biura wywiadowczego, potraktował go z bezgraniczną wzdargą i brutalnością. Jak bądź się rzeczy miały i mimo iż niepodobna byłoby zasięgnąć wiadomości u pułkownika wprost, sąsiad mój miał tę uprzejmość, aby powiedzieć Robertowi — tonem, jakim dama katoliczka oznajmia damie żydówce, że jej proboszcz potępia pogromy Żydów w Rosji oraz podziwia szlachetność pewnych Izraelitów — że pułkownik nie jest owym fanatycznym, ciasnym przeciwnikiem dreyfusizmu — pewnego dreyfusizmu przynajmniej — za jakiego go przedstawiano.

<sup>169</sup>Hugo, Victor (1802–1885) — francuski pisarz, poeta, dramaturg, czołowy przedstawiciel romantyzmu francuskiego. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>Vigny, Alfred de (1797–1863) — poeta, dramaturg i powieściopisarz epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>Szeherezada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>ożenił się z młodą wschodnią księżniczką, która pisała (...) wiersze... — mowa o sławnej poetce francuskiej, hr. Annie de Noailles (z pochodzenia Rumunce) zaprzyjaźnionej z Proustem. Proust lubi czasem wprowadzać autentyczne osoby w fikcję swego opowiadania. [przypis tłumacza]

<sup>173</sup>werbalizm — pustosłowic, wypowiedź zawierająca wiele słów, lecz niewiele istotnej treści, sprawiająca pozory obszernej informacji lub argumentacji za daną tezą. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>enuncjacja — wypowiedź, oświadczenie. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazyego; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazyego, po uniewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

— To mnie nie dziwi — rzekł Saint-Loup — bo to jest człowiek inteligentny. Ale mimo wszystko przesady rodowe, a zwłaszcza klerykalizm zaślepiają go. Och! — rzekł do mnie — major Duroc, profesor historii wojen, o którym ci mówiłem, oto człowiek, który, zdaje się, całkowicie podziela nasze przekonania. Zresztą dziwiłbym się, gdyby było inaczej; bo to jest nie tylko wspaniała inteligencja, ale socjalista-radykał i wolnomularz.

Zarówno przez uprzejmość dla jego przyjaciół, którym dreyfusistowskie enuncjacje Roberta były przykre, jak dlatego, że inne rzeczy bardziej mnie interesowały, spytałem sąsiada, czy prawdą jest, że ów major zrobił z historii wojen konstrukcję o prawdziwie estetycznym pięknie.

— Absolutna prawda — odparł.

— Ale co pan pod tym rozumie?

— Och, na przykład: wszystko, co pan czyta — mam na myśli opowiadanie operacji wojennych — najdrobniejsze fakty, najmniejsze wydarzenia, to są tylko znaki idei, którą trzeba wyłuskać i która często kryje inne, jak w palimpseście<sup>176</sup>. Tak iż całość staje się równie intelektualna jak w jakiegokolwiek innej nauce lub sztuce i daje umysłowi pełne zadowolenie.

— Czy wolno mi prosić o przykład?

— Trudno ci to tak uprzytomnić — przerwał Saint-Loup. — Czytasz na przykład, że taki a taki korpus podjął... Zanim się pójdzie dalej, nazwa korpusu, jego skład, nie są bez znaczenia. Jeżeli operację podjęto nie po raz pierwszy i jeżeli dla tej samej operacji widzimy zjawiający się inny korpus, to może być oznaką, że poprzednie korpusy zostały unicestwione lub mocno uszkodzone rzezoną operacją, że nie są już w stanie doprowadzić jej do skutku. Otóż trzeba się wywiedzieć, co to był za korpus dziś zniesiony; jeżeli to były wojska szturmowe, zachowane w rezerwie dla potężnych ataków, nowy korpus niższej jakości mało ma szans powodzenia tam, gdzie się tamtym nie udało. Co więcej, jeżeli to nie jest z początkiem kampanii, ten nowy korpus może być sklecony z kawałków, co może dostarczyć wskazówek co do sił, jakimi rozporządza jeszcze strona wojująca, co do bliskości momentu, w którym te siły będą niższe od sił przeciwnika; wskazówki te znowu dadzą odmienny sens samej operacji, o którą ten korpus ma się pokusić, ponieważ jeżeli nie jest już w stanie uzupełnić swoich strat, nawet jego sukcesy muszą go doprowadzić — matematycznie — do finalnego unicestwienia. Zresztą numer oznaczający korpus walczący po przeciwnej stronie ma nie mniejsze znaczenie. Jeżeli na przykład jest to jednostka bojowa o wiele słabsza i która już wchłonęła wiele poważnych jednostek nieprzyjaciela, sama operacja zmienia charakter, bo choćby się miała skończyć stratą pozycji, którą zajmował obrońca, utrzymanie jej przez jakiś czas może być wielkim sukcesem, o ile przy bardzo małych siłach wystarczyło, aby zniszczyć bardzo poważne siły przeciwnika. Rozumiesz, że jeżeli w analizie zmagających się korpusów można w ten sposób wyczytać doniosłe rzeczy, studium samej pozycji, dróg, kolei żelaznych będących w jej zakresie, aprowizacji, którą ona zabezpiecza, jest jeszcze ważniejsze. Trzeba studiować to, co nazwałbym całym kontekstem geograficznym — dodał, śmiejąc się. (I w istocie, Saint-Loup był taki rad z tej nazwy, że później za każdym razem, kiedy jej użył, nawet po upływie miesięcy, śmiał się tak samo). — Jeżeli czytasz, że podczas gdy jedna ze stron wojujących przygotowuje operację, jakiś jej patrol zniosła w okolicy druga strona wojująca, możesz stąd wyciągnąć wniosek, że jedna strona starała się zdać sobie sprawę z prac obronnych, jakimi druga zamierzała udaremnić atak. Szczególnie gwałtowna akcja na jakimś punkcie może oznaczać chęć zdobycia go, ale także chęć związania przeciwnika, niestawiania mu czoła tam, gdzie zaatakował, lub nawet może być jedynie fintą<sup>177</sup> i pod zdwójoną czynnością ukrywać wycofanie wojsk z tego punktu. (Klasyczna finta wojen napoleońskich). Z drugiej strony, aby zrozumieć znaczenie jakiegoś manewru, jego prawdopodobny cel i tym samym inne ruchy towarzyszące mu lub mające po nim nastąpić, ważne jest śledzić nie tyle to, co zapowiada rozkaz (a co może mieć na celu oszukanie przeciwnika, zamaskowanie możliwej porażki), ile reguły wojskowe danego kraju. Zawsze godzi się przypuszczać, że manewr zamierzony przez daną armię jest właśnie tym, jaki przepisywał w podobnych okolicznościach obowiązujący regulamin.

<sup>176</sup>palimpsest — rękopis spisany na używanym już wcześniej materiale piśmiennym, z którego usunięto poprzedni tekst, częściowo jednak jest on możliwy do odczytania. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>finta (daw.) — fortel, podstęp. [przypis edytorski]

Jeżeli na przykład regulamin zaleca, aby atakowi frontowemu towarzyszył atak z flanki, jeżeli po załamaniu się tego ataku z flanki dowództwo powiada, że on był bez związku z pierwszym i był jedynie dywersją, bardzo prawdopodobnie istoty rzeczy należy szukać w regulaminie, nie zaś w oświadczeniach dowództwa. A istnieją nie tylko regulaminy każdej armii, ale ich tradycje, ich zwyczaje, zasady. Studium równoczesnej akcji dyplomatycznej, jej wpływ na akcję wojenną lub zależność od niej, również zasługuje na baczną uwagę. Incydenty pozornie nieznaczące, w swoim czasie źle zrozumiane, wytłumaczą ci, że nieprzyjaciel (licząc na pomoc, która, wnosząc z tych incydentów, zawiodła) wykonał faktycznie tylko część swojej strategicznej akcji. Tak iż jeżeli umiesz czytać historię wojen, to, co jest mętnym opowiadaniem dla zwykłego czytelnika, dla ciebie jest łańcuchem równie racjonalnym jak obraz dla znawcy, który umie dostrzec, co jakaś osoba ma na sobie, co trzyma w rękach, gdy oszołomiony zwiedzacz muzeum dostaje kręcka w głowie i migreny od gry kolorów. Ale jak przy pewnych obrazach, gdzie nie wystarczy zauważyć, iż osoba jakaś trzyma kielich, ale trzeba wiedzieć, czemu malarz włożył jej w ręce kielich, co tym symbolizuje, tak te operacje wojenne, nawet poza ich bezpośrednim celem, są zazwyczaj w myśli dowodzącego generała skopiowane z dawniejszych bitew, które są, powiedzmy, niby przeszłość, niby biblioteka, erudycja, etymologia, arystokracja nowych bitew. Zauważ, że ja nie mówię w tej chwili o identyczności lokalnej — powiedziałbym przestrzennej — bitew. Ta istnieje również. W ciągu wieków pole bitwy było lub będzie polem nie tylko jednej bitwy. Jeżeli było polem bitwy, to dlatego, że łączyło pewne warunki topograficzne, nawet wady sposobne do sparaliżowania nieprzyjaciela (na przykład rzeka przecinająca je na dwoje), które uczyniły z niej dobre pole bitwy. Dlatego było nim i będzie. Nie robi się pracowni malarskiej z byle jakiego pokoju, nie robi się pola bitwy z byle jakiej okolicy. Są miejsca predestynowane. Ale jeszcze raz powtarzam, nie o tym mówiłem, ale o typie bitwy, który się naśladowuje; o rodzaju strategicznej odbitki, taktycznego pastiszu, jeżeli wolisz; bitwa pod Ulm, pod Lodi, pod Lipskiem, pod Kannami. Nie wiem, czy będą jeszcze wojny i między jakimi narodami; ale jeżeli będą, bądź pewien, że będą (i to z całą świadomością wodza) Kanny, Austerlitz, Rosbach, Waterloo, nie mówiąc o innych. Niektórzy mówią to wręcz, bez ceremonii. Marszałek von Schieffer i generał von Falkenhausen zawczasu przygotowali przeciw Francji bitwę pod Kannami<sup>178</sup>, w guście Hannibala, z unieruchomieniem przeciwnika na całym froncie i posuwaniem się dwoma skrzydłami, zwłaszcza prawym przez Belgię, gdy Bernhardi woli skośny szyk Fryderyka Wielkiego, raczej Leuthen<sup>179</sup> niż Kanny. Inni wyrażają swoje poglądy mniej jasno, ale ręczę ci, mój stary, że Beauconseil, ten szef szwadronu, któremu cię przedstawiłem kiedyś, oficer z wielką przyszłością, wystudiował swój atak pod Pratzen<sup>180</sup>, zna go na wylot, trzyma go w rezerwie i jeżeli kiedy będzie go miał sposobność wykonać, nie spartoli go i pokaże go nam ekstrasfajny. Atak na centrum pod Rivoli<sup>181</sup> powtórzy się jeszcze, o ile będą wojny. Tak samo się nie zestarzał, jak się nie zestarzała *Iliada*. Dodam, że jesteście niemal skazani na ataki czołowe, bo nie chcemy powtórzyć błędu z roku 1870<sup>182</sup>. Ofen-

<sup>178</sup>bitwa pod Kannami (2 sierpnia 216 p.n.e.) — kluczowe starcie między Kartagimą a Republiką Rzymską podczas II wojny punickiej, stoczone w pobliżu wioski Kanny (łac. Cannae) w pld. Italii; dowodzone przez Hannibala wojska kartagińskie okrzyły, a następnie unicestwiły większą armię rzymską; uważana za jedno z największych osiągnięć taktycznych w historii wojskowości, była jedną z największych klęsk militarnych w całej historii Rzymu (zginęło w niej 60 tys. żołnierzy rzymskich). [przypis edytorski]

<sup>179</sup>bitwa pod Leuthen, pol.: bitwa pod Lutynią (5 grudnia 1757) — stoczona w trakcie wojny siedmioletniej w okolicy wsi Lutynia na Dolnym Śląsku, pomiędzy armią Prus dowodzoną przez Fryderyka II Wielkiego a dwukrotnie liczniejszą armią Austrii pod dowództwem Karola Lotaryńskiego; zakończona wielkim zwycięstwem wojsk pruskich dzięki atakowi na wroga z boku tzw. szykiem skośnym, używanym w starożytności przez Tebańczyków. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>Pratzen — tu: Wzgórze Pratzen w pobliżu Austerlitz (ob. Sławków w Czechach), odegrały ważną rolę 2 grudnia 1805, podczas jednej z kluczowych bitew wojen napoleońskich, w której armia Napoleona pokonała liczniesze wojska austriacko-rosyjskie. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>bitwa pod Rivoli (14–15 stycznia 1797) — starcie zbrojne pomiędzy republikańską armią francuską dowodzoną przez Napoleona Bonaparte'go a cesarskimi wojskami austriackimi pod dowództwem Josepha Alvinczy'ego; zakończona decydującym zwycięstwem Bonaparte'go, które umożliwiło Francuzom całkowite zajęcie północnej Italii. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>błędu z roku 1870 — w wojnie francusko-pruskiej, w bitwie pod Gravelotte (18 sierpnia 1870) francuski marszałek François Achille Bazaine mimo przewagi na polu bitwy nie podjął decyzji o ataku na wyczerpane wojska pruskie i wycofał się do Metz, co doprowadziło do okrążenia jego armii; spiesząca jej na pomoc druga, stutysięczna armia francuska została okrążona w bitwie pod Sedanem (1–2 września 1870), wskutek czego



sywa, tylko ofensywa. Jedynie zacofańcy sprzeciwiają się tej wspaniałej teorii; mimo to niepokoi mnie, że jeden z moich młodszych mistrzów, człowiek wręcz genialny, Mangin<sup>183</sup>, żąda, aby zostawić miejsce — prowizoryczne oczywiście — defensywie. Bardzo mu trudno coś odpowiedzieć, kiedy cytuje jako przykład Austerlitz<sup>184</sup>, gdzie obrona jest jedynie wstępem do ataku i zwycięstwa.

Te teorie Roberta zachwycaly mnie. Budziły we mnie nadzieję, że ja w tym życiu w Doncières, w stosunku do wszystkich tych oficerów, o których słuchałem rozmów, popijając sauternes rzucające na nich swój uroczy refleks, nie padam może ofiarą tego samego „zbliżenia”, które tak mi powiększyło, dopóki byłem w Balbec, króla i królowę Oceanii, kółko czworoga smakoszków, młodego gracza, szwagra pana Legrandin, teraz zmalanych w moich oczach wręcz do nieistnienia. To, co mi się podoba dziś, nie stanie mi się może jutro obojętne, jak mi się to zawsze zdarzało dotąd; istota, którą jestem jeszcze w tej chwili, nie jest może skazana na bliskie zniweczenie, skoro do żarliwej i przelotnej pasji, jaką w ciągu tych kilku wieczorów wkładałem we wszystko, co tyczy życia wojskowego, to, co mi mówił przed chwilą Saint-Loup w przedmiocie strategii, przydawało treść intelektualną, trwałą, zdolną mnie przywiązać na tyle silnie, abym mógł uwierzyć, nie starając się oszukać samego siebie, że wyjechawszy stąd, będę się nadal interesował pracami swoich przyjaciół z Doncières i że nie omieszkam tu wrócić. Ale aby się tym bardziej upewnić, że sztuka wojenna jest w istocie sztuką w duchowym znaczeniu słowa, rzekłem do Roberta:

— Interesuje mnie pan, przepraszam, interesujesz mnie bardzo; ale, powiedz, jedno mnie w tym niepokoi. Czuję, że mógłbym się pasjonować sztuką wojenną, ale trzeba by na to, aby mi się nie wydawała tak odmienna od innych sztuk, aby wyuczona reguła nie była w niej wszystkim. Powiadasz, że się kopiuje bitwy. To mi się wydaje w istocie artystyczne, widzieć, jak powiadasz, pod bitwą nowoczesną inną bitwę dawniejszą; nie umiem ci powiedzieć, jak mi się ta idea podoba. Ale w takim razie, czy geniusz wodza jest niczym? Czy doprawdy on tylko stosuje reguły? Lub też — przyjąwszy równy zasób wiedzy — czy istnieją wielcy wodzowie jak są wielcy chirurdzy, którzy przy materialnie równych danych dwóch stanów chorobowych czują jednak z jakiegoś drobiazgu, może stworzonego ich doświadczeniem, ale zinterpretowanego przez nich, że w danym wypadku zachodzi raczej to, w innym co innego, że w jednym wypadku raczej trzeba operować, w innym zaniechać operacji?

— Ależ oczywiście! Ujrzysz Napoleona, jak nie atakuje, mimo iż wszystkie reguły żądałyby tego, kiedy tajemne przecucie odradza mu atak. Weź na przykład Austerlitz lub w roku 1806 jego instrukcje dane generałowi Lannes<sup>185</sup>. Ale zobaczysz, jak jakiś generał naśladuje po szkolarSKU<sup>186</sup> manewr Napoleona i osiąga wręcz przeciwny rezultat. Jest tego z dziesięć przykładów w roku 1870. Ale nawet dla interpretacji tego, co *może* zrobić przeciwnik, to, co robi jest tylko symptomem zdolnym oznaczać wiele rozmaitych rzeczy. Każda z tych rzeczy ma równe szanse prawdy, jeżeli się ograniczyć do rozumowania i wiedzy, tak samo jak w pewnych skomplikowanych wypadkach cała wiedza lekarska świata nie wystarczy, aby rozstrzygnąć, czy niewidoczny guz jest natury włóknistej czy nie i czy należy operować. Po prostu węch, jasnowidzenie w rodzaju pani de Thèbes<sup>187</sup> (rozumiesz mnie?) rozstrzygają u wielkiego wodza, jak u wielkiego lekarza. I tak, mówiłem ci — aby

cesarz Napoleon III skapitulował i oddał się wraz z armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>Mangin, Charles (1866–1925) — generał francuski. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>bitwa pod Austerlitz (2 grudnia 1805) — jedna z najważniejszych bitew wojen napoleońskich, stoczona między dowodzoną przez cesarza Napoleona Bonaparte'go francuską Wielką Armią a znacznie większą od niej, połączoną armią austriacko-rosyjską; dzięki doskonałej taktyce Napoleona zakończona wielkim zwycięstwem armii francuskiej; po klęsce pod Austerlitz Austria poprosiła o zawarcie pokoju, koalicja antyfrancuska rozpadła się. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>Lannes, Jean (1769–1809) — francuski wojskowy, marszałek cesarstwa (od 1804); w bitwie pod Austerlitz dowodził lewym skrzydłem armii francuskiej; odznaczył się przeprowadzeniem swoich korpusów przez Las Turyński i wygraną bitwą pod Saalfeld; w bitwie pod Jeną (14 października 1806) na rozkaz Napoleona przesunął swój korpus, aby uratować zagrożony korpus marszałka Ney'a. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>po szkolarSKU (lekcew.) — opierając się na uproszczonych, szkolnych formułkach. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>Madame de Thèbes (pseud.), właśc. Anne Victorine Savigny (1845–1916) — francuska jasnowidząca i chiromantka (tj. czytająca z linii papilarnych dłoni); co roku publikowała swoje wróżby w specjalnym almanachu, cieszącym się dużym powodzeniem; miała przewidzieć m.in. wojnę burską, wojnę rosyjsko-japońską oraz I wojnę światową. [przypis edytorski]

ci dać jakiś przykład — co może znaczyć rekonesans z początkiem bitwy. Ależ on może znaczyć dziesięć innych rzeczy! Na przykład wmówić w przeciwnika, że go chcemy atakować na jakimś punkcie, podczas gdy go chcemy atakować na innym; stworzyć zasłonę, która mu nie pozwoli dojrzeć przygotowań do rzeczywistej akcji; zmusić go do skupienia wojsk, do ustalenia ich, do unieruchomienia ich w innej okolicy niż tam, gdzie są potrzebne; zdać sobie sprawę z sił, jakimi rozporządza, zmacać go, zmusić, aby odkrył karty. Czasami nawet fakt, że się angażuje w jakąś akcją ogromne siły, nie jest dowodem, że ta właśnie akcja jest istotna; można ją bowiem wykonać na dobre, mimo że jest tylko fantą, po to, aby ta finta miała więcej szans oszukania. Gdybym miał czas opowiedzieć ci z tego punktu wojny Napoleona, zapewniam cię, że te proste, klasyczne ruchy, które my studiujemy, a które zobaczysz w praktyce w czasie ćwiczeń — spacerkiem, spacerkiem, ty świnko; nie, ja wiem, że ty jesteś chory, przepraszam cię! — otóż w czasie wojny, kiedy się czuje poza tym wszystkim czujność, myśl i głębokie kalkulacje sztabu, człowiek jest wzruszony wobec tych obrotów jak wobec prostego światła latarni morskiej, światła przenikającego przestrzeń, aby ostrzec okręty przed niebezpieczeństwem. Żle może robię, że ci mówię o wojnie jedynie literacko. W rzeczywistości, jak właściwości gruntu, kierunek wiatru i światła wskazują, w którą stronę będzie rosło drzewo, tak samo warunki, w jakich się odbywa kampania, właściwości okolicy, gdzie się operuje, narzucają poniekąd i ograniczają plany, między którymi wódz może wybierać. Tak iż u stóp gór, w układzie dolin, na danej równinie możesz przepowiedzieć ruchy wojsk niemal z nieuchronnością i wspaniałym pięknem lawiny.

— Odrzucasz teraz wolny wybór u wodza, intuicję u przeciwnika starającego się przyniknąć jego plany, wszystko, coś mi przyznawał przed chwilą?

— Ależ bynajmniej! Przypominasz sobie to filozoficzne dzieło, które czytaliśmy razem w Balbec: bogactwo świata możliwości w stosunku do świata rzeczywistego. Otóż tak samo jest w sztuce wojennej. W danej sytuacji następczą się na przykład cztery plany, między którymi wódz mógł wybierać, tak jak choroba może mieć rozmaite ewentualności, na które lekarz musi być przygotowany. I tu jeszcze słabość i wielkość ludzka stają się nowym źródłem niepewności. Bo przypuścmy, że wśród tych czterech planów przypadkowe racje (jako to: uboczne cele do osiągnięcia albo konieczność pośpiechu, albo braki aprowizacji) każą wodzowi wybrać plan pierwszy, mniej doskonały, ale w wykonaniu mniej kosztowny, szybszy i mający za teren okolicę sposobniejszą do wyżywienia armii. Może, zacząwszy od tego pierwszego planu (który nieprzyjaciel, zrazu niepewny, odcyfruje niebawem), nie móc go wykonać z powodu zbyt wielkich przeszkód (ja to nazywam: ryzyko zrodzone ze słabości ludzkiej); wówczas może go porzucić i próbować drugiego albo trzeciego, albo czwartego. Ale może się także zdarzyć, że próbował pierwszego — i oto co nazywam wielkością ludzką — jedynie przez fantę, aby związać przeciwnika i zaskoczyć go tam, gdzie się wróg nie spodziewał ataku. W ten sposób pod Ulm<sup>188</sup> Mack, który oczekiwał nieprzyjaciela od zachodu, został otoczony od północy, gdzie się czuł bardzo bezpieczny. Mój przykład nie jest zresztą bardzo dobry. A Ulm jest raczej typem bitwy przez otoczenie, który powtórzy się w przyszłości. Jest nie tylko klasycznym przykładem, który generałowie będą naśladowali, ale formą poniekąd konieczną (konieczną między innymi, co pozostawia wybór, rozmaitość) jako typ krystalizacji. Ale wszystko to nie znaczy nic, bo rama jest bądź co bądź sztuczna. Wracam do naszego filozoficznego dzieła; to jest tak, jak zasady racjonalne albo prawa naukowe; rzeczywistość pokrywa się z tym mniej więcej, ale przypomnij sobie wielkiego matematyka Poincarégo<sup>189</sup>: on nie jest pewny, czy matematyka jest ściśle dokładna. Co się tyczy samych reguł, o których ci mówiłem, mają one ostatecznie drugorzędne znaczenie; zresztą zmienia się je od czasu do czasu. I tak na przykład my, konnica, żyjemy *Shużbą w polu* z roku 1895, o której można powiedzieć, że jest przestarzała, skoro opiera się na starej i zużytej teorii, uważającej, iż walka kawalerii ma wyłącznie prawie działanie moralne, siłą przestraszenia, jaki atak budzi w nieprzyjacielu. Otóż najinteligentniejsi z naszych nauczycieli (co tylko może być naj-

<sup>188</sup> *bitwa pod Ulm* (16–19 października 1805) — stoczona w pld. Niemczech pomiędzy oddziałami francuskiej Wielkiej Armii, dowodzonej przez Cesarza Napoleona I, a siłami austriackimi, dowodzonymi przez gen. Karla Macka von Leibericha; zakończona zwycięstwem francuskim. [przypis edytorski]

<sup>189</sup> *Poincaré, Henri Jules* (1854–1912) — wybitny francuski matematyk, zajmował się również fizyką teoretyczną, mechaniką nieba i filozofią nauki. [przypis edytorski]

lepszego w kawalerii, a zwłaszcza ów major, o którym ci mówiłem) sądzą przeciwnie, że rozstrzygać będzie szczerą bitwa, gdzie będzie się machało szablą i lancą i gdzie najcięższy będzie zwycięzcą nie tylko moralnie i siłą przestraszu, ale fizycznie.

— Saint-Loup ma słusznosc; prawdopodobne jest, że najbliższa *Śłużba w polu* będzie nosiła ślady tej ewolucji — rzekł mój sąsiad.

— Cieszę się z twojej aprobaty, bo twój sąd robi najwidoczniej na moim przyjacielu większe wrażenie od mojego — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup, czy że rodząca się sympatia między jego kolegą a mną drażniła go trochę, czy że rad był przez grzeczność usławić ją, stwierdzając ją tak oficjalnie. — A zresztą, może ja umniejszyłem ważność regulaminów. Zmienia się je niewątpliwie. Ale na razie one kształtują sytuację wojenną, plany bitwy i koncentracji. Jeżeli odbijają fałszywą koncepcję strategiczną, mogą być pierwszym źródłem klęski. Wszystko to jest dla ciebie trochę zbyt techniczne. W gruncie powiedz sobie, że ewolucję sztuki wojennej najbardziej przyspieszają same wojny. W czasie kampanii (jeżeli trwa dość długo) widzimy, jak jedna strona korzysta z lekcji, jakie jej dają sukcesy i błędy przeciwnika, jak udoskonala metody tego przeciwnika, który znowuż stara się iść dalej. Ale to jest przeszłość. Przy straszliwych postępach artylerii przyszłe wojny — o ile będą jeszcze wojny — będą tak krótkie, że nim się zdoła pomyśleć o tym, aby skorzystać z nauki, już będzie pokój.

— Nie bądź taki podejrzliwy — rzekłem do Roberta, odpowiadając na jego wycieczkę sprzed tych ostatnich słów. — Słuchałem cię dosyć żarliwie!

— Jeżeli zechcesz się nie dąsać i pozwolisz mi mówić — podjął przyjaciel Roberta — do tego, co powiedziałaś, dodam, że jeżeli bitwy powtarzają się i piętrzą na sobie, to nie tylko z racji umysłowości wodza. Może się zdarzyć, że błąd wodza (na przykład niedocenienie siły przeciwnika) przywiedzie go do żądania od swoich wojsk nadmiernych poświęceń; poświęceń, które pewne jednostki bojowe spełnią z zaparciem się siebie tak wzniosłym, że ich rola zrówna się z rolą innej danej jednostki w innej bitwie i obie będzie się cytowało w dziejach jako równoważne przykłady: aby się trzymać roku 1870, gwardia pruska pod Saint-Privat, turkosi<sup>190</sup> pod Froschwiller i pod Wissemburg.

— A, równoważne, bardzo ściśle! wybornie, ty jesteś inteligentny — rzekł Saint-Loup.

Nie byłem obojętny na te ostatnie przykłady, jak za każdym razem, kiedy pod szczególnym wskazywano mi ogólne prawo. Ale najbardziej interesował mnie geniusz wodza. Byłbym chciał sobie zdać sprawę, na czym on polega; w jaki sposób w danej okoliczności, gdzie wódz bez talentu nie mógłby się oprzeć przeciwnikowi, wziąłby się do rzeczy wódz genialny, aby ocalić zagrożoną bitwę, co — jak mówił Saint-Loup — było bardzo możliwe i czego dokonał Napoleon wiele razy. I aby zrozumieć, co to jest talent wojskowy, prosiłem o porównania między znanymi mi z nazwisk generałami; który z nich najbardziej ma naturę wodza, talenty taktyka. Zanudzałem swoich nowych przyjaciół; ale nie okazywali tego i odpowiadali mi z niestrudzoną dobrocią.

Czułem się oddzielony nie tylko od wielkiej mroźnej nocy, rozpościerającej się w dal, w której słyszeliśmy od czasu do czasu gwizd pociągu, wzmacniający jeszcze przyjemność, że jestem tutaj, lub bicie godziny, jeszcze na szczęście oddalonej od pory, kiedy młodzi ludzie będą musieli przypasać szablę i wracać; czułem się także odcięty od wszystkich zewnętrznych zainteresowań, niemal od wspomnienia pani de Guermantes, a to dzięki dobroci Roberta, której to dobroci serdeczność jego przyjaciół przydawała jak gdyby konsystencji; a także dzięki ciepłu tej małej jadalni, dzięki smakowitości wybornych rzeczy, którymi nas raczono. Dawały tyleż przyjemności mojej wyobraźni, co memu podniebieniu; czasami kawałek natury, z której je wyrwano — chropawa kropielnica ostrygi, gdzie zostało parę kropel słonej wody, lub też węzła gałązka, pożółkły liść winnego grona — otaczał je jeszcze, niejadalny, poetyczny i odległy niby krajobraz, nasuwając na przemian w ciągu obiadu obraz przejażdżki morskiej lub sjeisty pod krzakiem wina. Innym razem jedynie kucharz podkreślał tę oryginalną swoistość potraw, podając je w ich naturalnej ramie niby dzieło sztuki: rybę w krótkim sosie przynoszono na długim glinianym półmisku, gdzie odcinając się na posłaniu niebieskich traw, nienaruszona, ale

<sup>190</sup>turkosi — piechota francuska utworzona z mieszkańców terytoriów kolonialnych w Afryce Płn.: Algierii, Tunezji i Maroka. [przypis edytorski]

skręcona jeszcze od tego, że ją rzucono żywą do wrzącej wody, otoczona kręgiem muszel, orszakiem satelitów, krabów, krewetek i mulek<sup>191</sup>, robiła wrażenie kompozycji w glinie Bernarda Palissy<sup>192</sup>.

— Jestem zazdrosny, jestem wściekły — mówił do mnie Saint-Loup, wpół śmiejąc się, wpół poważnie, z aluzją do rozmówek, jakie wiodłem bez końca na stronie z jego przyjacielem. — Czy on ci się wydaje inteligentniejszy ode mnie, czy go wolisz ode mnie? Więc co, teraz dla mnie już nic, wszystko dla niego?

(Mężczyźni, którzy namiętnie kochają kobiety, którzy żyją w towarzystwie kobiecary, pozwalają sobie na żarty, na które nie odważyliby się inni, widzący rzeczy mniej niewinnie).

Z chwilą gdy rozmowa stała się powszechna, unikano wzmianki o Dreyfusie z obawy urażenia Roberta. Jednakże w tydzień później, dwaj jego koledzy zauważyli, że to jest bardzo osobliwe, aby on, żyjąc w środowisku tak wojskowym, był takim dreyfusistą, prawie antimilitarystą. „Bo — rzekłem, nie chcąc wchodzić w te szczegóły — otoczenie nie ma tego wpływu, jaki mu się przypisuje...”. Z pewnością chciałem poprzestać na tym i nie wszczynać refleksji, jakimi podzieliłem się z Robertem kilka dni wprzód. Mimo to, ponieważ właśnie te słowa powiedziałem mu swego czasu prawie dosłownie, chciałem się usprawiedliwić, dodając: „Właśnie mówiłem kiedyś...”. Ale nie wziąłem w rachubę odwrotnej strony, jaką miał pełen wdzięku podziw Roberta dla mnie i dla paru innych. Podziwowi temu towarzyszyło tak całkowite wchłonięcie ich myśli, iż po upływie czterdziestu ośmiu godzin Saint-Loup zapominał, że te myśli nie pochodziły od niego. Toteż Saint-Loup, zupełnie tak jakby to było od wieków jego zdanie i jak gdybym ja tylko przychodził mu w sukurs<sup>193</sup>, uważał za stosowne pozdrowić mnie niejako radośnie w tym charakterze i poprzeć mnie.

— Ależ tak! Środowisko nie ma znaczenia.

I powtórzył z siłą, jak gdyby się obawiał że mu przerwę lub że go nie zrozumiem:

— Prawdziwy wpływ, to wpływ sfery intelektualnej! Każdy jest człowiekiem swojej idei.

Z uśmiechem człowieka, który dobrze podjadł, przerwał na chwilę, wypuścił monokl i wpił we mnie swoje spojrzenie jak śrubę.

— Wszyscy ludzie jednej idei są podobni do siebie — rzekł, jak gdyby rzucając wyzwanie. Nie pamiętał z pewnością ani trochę, że ja mu powiedziałem przed paru dniami to, co w zamian zapamiętał tak dobrze.

Nie co wieczór zjawiałem się w tej jadalni w jednakim usposobieniu. Jeżeli jakieś wspomnienie, jakaś zgryzota, zdolne są nas opuścić do tego stopnia, że ich już nie spostrzegamy, zdarza się również, że wracają i czasem długo nas nie porzucają. Bywały wieczory, kiedy idąc miastem, aby się udać do restauracji, tak tęskniłem do pani de Guermantes, że ledwie mogłem oddychać; można by rzec, że biegły anatom wyciął i usunął część mojej piersi, zastępując ją odpowiednią partią niematerialnego cierpienia, ekwiwalentem tęsknoty i miłości. I mimo że starannie zeszyto ranę, dość trudno jest żyć, kiedy żal za daną istotą wstawiono zamiast trzewi; sprawia on uczucie, że zajmuje więcej miejsca od nich, czujemy go ustawicznie; a przy tym, cóż za dziwna rzecz musieć *myśleć* część swojego ciała! Jedynie mamy wówczas uczucie, żeśmy urosli co do wartości. Za lada podmuchem wiatru wdychamy pod wpływem ucisku serca, ale i tęsknoty. Patrzyłem w niebo. Kiedy było jasne, powiadałem sobie: „Może ona jest na wsi, patrzy na te same gwiazdy”. Kto wie, gdy wejść do jadalni, Robert powie mi może: »Dobra nowina, ciotka pisała do mnie, chciałaby cię poznać, przyjedzie tutaj«.

Nie w samym firmamencie lokowałem myśl o pani de Guermantes. Nieco łagodniejszy podmuch zdawał się mi przynosić poselstwo od niej, jak niegdyś od Gilberty

<sup>191</sup> *mule* — omułki, jadalne małże. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *Palissy, Bernard* (ok.1510–ok.1589) — francuski ceramik; najbardziej znany z dużych owalnych półmiseków dekorowanych barwnymi, realistycznymi płaskorzeźbami przedstawiającymi drobne zwierzęta w otoczeniu muszli i liści. [przypis edytorski]

<sup>193</sup> *sukurs* (daw.) — wsparcie, pomoc. [przypis edytorski]

w zbożach Mèsèglise. Człowiek nie zmienia się; w uczucie odnoszące się do jakiejś istoty wprowadza wiele drzemiących składników, które ta osoba budzi, ale które są jej obce. A przy tym zawsze się coś w nas sili sprowadzić te poszczególne uczucia do wyższej prawdy, to znaczy połączyć je z jakimś uczuciem ogólniejszym, wspólnym całej ludzkości; dane osoby oraz zgryzoty, jakie nam one sprawiają, są dla nas jedynie środkiem do zespolenia się z tą ludzkością. Świadomość, że moja zgryzota jest częścią powszechnej miłości, zaprawiała ją niejaką słodyczą. Miałem wrażenie, że w cierpieniu, jakim doznałem, poznałem smutki przeżyte niegdyś z powodu Gilberty lub wieczorem w Combray, kiedy mama nie została w moim pokoju, a także wspomnienie pewnych stronic Bergotte'a. Pani de Guermantes, jej chłód, jej nieobecność, wszystko to nie wiązało się z tym cierpieniem tak jasno, jak w mózgu uczonemu przyczyna wiąże się ze skutkiem; mimo to nie wyciągałem stąd wniosku, aby pani de Guermantes nie była tą przyczyną. Czyż nie istnieje ból fizyczny rozlany, promieniujący w partię odległą od chorej części, ale opuszczający je, aby się całkowicie rozproszyć, kiedy lekarz dotknie właściwego punktu kryjącego źródło bólu? A przedtem rozległość tego bólu dawała mu coś tak nieokreślonego i groźnego, że nie umiejąc go wytłumaczyć, a nawet umiejscowić, uważaliśmy go za nieuleczalny.

Idąc do restauracji, powtarzałem sobie: „Już dwa tygodnie nie widziałem pani de Guermantes”. Dwa tygodnie — to się zdawało czymś ogromnym jedynie mnie; kiedy szło o panią de Guermantes, liczyłem czas na minuty. Nie tylko gwiazdy i wiatr, ale nawet podział czasu przybierał dla mnie coś bolesnego i poetycznego. Każdy dzień był obecnie niby ruchomy grzebień mglistego pagórka; z jednej strony czułem, że mogę zstąpić ku zapomnieniu, z drugiej rwała mnie potrzeba ujrzenia znów księżnej. I, pozbawiony stałej równowagi, czułem się bliżej to jednego, to drugiego. Pewnego dnia powiedziałem sobie: „Będzie może list dziś wieczór”, i przyszedłszy na obiad, miałem odwagę spytać Roberta:

— Czy nie masz przypadkiem wiadomości z Paryża?

— Owszem — odpowiedział posępnie — fatalne.

Odetchnąłem, że to tylko on ma zgryzotę i że wiadomości są od jego kochanki. Ale spostrzegłem rychło, iż jednym z ich następstw będzie to, że przez długi czas Robert nie będzie mógł mnie wprowadzić do pani de Guermantes.

Dowiedziałem się, że wybuchła sprzeczka między nim a jego kochanką, czy to listownie, czy może ona przyjechała któregoś dnia zobaczyć się z nim od pociągu do pociągu. A sprzeczki, nawet mniej poważne, jakie miewali z sobą dotąd, zdawały się zawsze czymś nie do naprawienia. Bo ona wpadała we wściekłość, tupiała, płakała z niezrozumiałych przyczyn, jak dzieci, które zamykają się w ciemnej komórce, nie przychodzą na obiad, odmawiając wszelkich wyjaśnień, szlochając jedynie tym gwałtowniej, kiedy, wyczerpawszy argumenty, przechodzi się do klapsów. Saint-Loup cierpiał straszliwie z powodu tej zwady; ale to określenie jest zbyt proste i fałszuje pojęcie tej męki. Kiedy się znalazł sam z myślą o kochance, która widząc go tak stanowczym, odjechała przejęta dłań szacunkiem, wzruszenia pierwszych chwil skończyły się wobec nieodwołalnego faktu; ulga zaś po takim szarpaniu się jest czymś tak słodkim, że zdecydowane zerwanie nabrało dłań coś z tego uroku, jaki miałoby pogodzenie się. Późniejsze jego cierpienie było czymś wtórnym; fala tego bólu szła bez ustanku z niego samego na myśl, że ona może chciałaby się pojednać, że — kto wie — może czeka tylko słówka od niego; że tymczasem, aby się zemścić, zrobi tego a tego wieczora, w takim a takim miejscu, taką a taką rzecz, i że wystarczyłoby mu zadepszować do niej, że przyjeżdża, aby ta rzecz się nie stała; że inni korzystają może z czasu, który on marnuje i że za kilka dni będzie za późno odzyskać ją, bo już będzie zajęta. O wszystkich tych możliwościach nie wiedział nic; kochanka zachowywała milczenie, które przywiodło go w końcu do szaleństwa; w męce swojej gotów był wierzyć, że ona jest ukryta w Doncieres lub że wyjechała do Indii.

Powiedziano, że milczenie jest siłą; w istocie, w całkiem innym znaczeniu, jest ono straszliwą siłą w ręku osoby, która się czuje kochaną. Wzmaga ono ucisk serca tego, który czeka. Nic tak nie skłania do zbliżenia się do jakiejś istoty, jak to, co od niej dzieli, a cóż może być bardziej nieprzebytą zaporą niż milczenie? Powiedziano też, że milczenie jest męką zdolną przywieść do szaleństwa ludzi skazanych na nie w więzieniach. Ale cóż za męka większa niż milczeć samemu — znosić milczenie osoby, którą się kocha! Robert powiedział sobie: „Co ona robi, że tak milczy? Z pewnością zdradza mnie z innymi”. Powia-

Milczenie, Pustynia,  
Więzienie

dał sobie także: „Cóż ja takiego zrobiłem, żeby tak milczała? Może mnie znienawidziła, i to na zawsze”. I obwiniał sam siebie. Tak więc milczenie doprowadzało go w istocie do szaleństwa przez zazdrość i przez wyrzuty. Zresztą milczenie takie, okrutniejsze od więzienia, samo jest więzieniem. Ściana niematerialna wprawdzie, ale nieprzenikniona; próżnia, której nie może przebyć wzrok opuszczonego. Czyż istnieje straszliwsze światło niż milczenie, które ukazuje nam nie jedną nieobecną kochankę, ale tysiąc, a każdą dopuszczającą się jakiejś innej zdrady. Czasem przez nagłą reakcję Robert myślał już, że to milczenie przerwie się nagle, że nadejdzie oczekiwany list. Widział, jak ten list nadchodzi, nadśluchował każdego szelestu, już niemal uspokojony szeptał: „List! List!”. I nasyciwszy oczy urojoną oazą tkliwości, odnajdywał się w istnej pustyni milczenia bez kresu.

Cierpiał z góry wszystkie męki zerwania, nie zapominając ani jednej, to znów myślał, że można by tego zerwania uniknąć. Był jak ludzie, którzy regulują wszystkie sprawy pod kątem prawdopodobnej ekspatriacji<sup>194</sup> i których myśl, nie wiedząc, gdzie jej przyjdzie ustalić się jutro, miota się oderwana od nich samych, niby owo serce wydarte choremu, które bije dalej oddzielone od reszty ciała. W każdym razie nadzieja, że kochanka wróci, pomagała mu wytrwać w zerwaniu, jak wiara, że zdoła wrócić żywy z pola walki, pomaga żołnierzowi narażać się na śmierć. A że ze wszystkich roślin ludzkich przyzwyczajenie jest tą, która potrzebuje najmniej ziemi, aby żyć, która zjawia się pierwsza na najbardziej jałowej skale, Robert, grając zrazu komedię zerwania, byłby się z nim może w końcu szczerze oswoił. Ale niepewność podtrzymywała w nim stan, który, połączony ze wspomnieniem tej kobiety, podobny był do miłości.

Saint-Loup zmuszał się wszelako, aby do niej nie pisać, myśląc może, że mniej okrutne jest żyć bez ukochanej niż żyć z nią w pewnych warunkach; lub że po sposobie w jaki się rozstali, należy mu koniecznie czekać jej przeprosin, iżby zachowała dlań jeżeli nie miłość, to bodaj szacunek i poważanie. Ograniczał się do telefonowania (właśnie założono telefon w Doncières) i do pytania o nowiny lub dawania zleceń pokojówce, którą umieścił u swojej kochanki. Połączenia te były zresztą skomplikowane i zabierały mu dużo czasu, ponieważ, posłuszna opiniom swoich przyjaciół intelektualistów zohydżających szpetotę stolicy, a bardziej jeszcze przez wzgląd na swoje zwierzęta, psy, małpę, kanarki i papugę, których nieustannych hałasów gospodarz domu nie chciał znosić, kochanka Roberta wynajęła domek w pobliżu Wersalu. Tymczasem on w Doncières nie spał już w nocy ani chwili. Raz u mnie, zmożony, zdrzemnął się nieco. Ale nagle zaczął mówić przez sen, chciał gdzieś pędzić, przeszkodzić czemuś; wołał: „Ja rozumiem, ty nie... ty nie...”. Obudził się. Powiadał, iż mu się śniło, że był na wsi u kwatermistrza. Ten starał się go nie dopuścić do pewnej części domu. Saint-Loup odgadł, że u kwatermistrza bawi bardzo bogaty i bardzo rozpustny porucznik, o którym wiedział, że się pali do jego kochanki. I naraz we śnie usłyszał wyraźnie przerywane i regularne krzyki, jakie jego kochanka zwykła była wydawać w momentach rozkoszy. Chciał zmusić kwatermistrza, aby go zaprowadził do pokoju; ów przytrzymał go, aby mu nie dać wejść, robiąc minę zgorzsną taką niedyskrecją: Robert mówił, że nigdy nie zdoła zapomnieć tej miny.

— Idiotyczny sen — powiadał jeszcze zdyszany.

Ale widziałem, że w ciągu najbliższej godziny kilka razy omal już nie telefonował do kochanki z propozycją pojednania. Ojciec mój miał od niedawna telefon, ale nie wiem, czy by się to na wiele zdało Robertowi. Zresztą nie wydawało mi się właściwe, aby rodzice — lub choćby aparat znajdujący się w ich domu — mieli grać rolę pośrednika między Robertem a jego kochanką, choćby najbardziej dystygowaną i szlachetną. Koszmar snu zatarł się stopniowo w jego umyśle. Z nieprzytomnym i upartym wzrokiem odwiedzał mnie przez wszystkie te okrutne dni, których kolejność wykreśliła mi niby wspaniałą łuk jakiejś wykutej w twardym materiale poręczy, przy której Robert zadawał sobie pytanie, co za decyzję powźmie jego przyjaciółka.

W końcu zapytała go, czy zechce jej przebaczyć. Skoro tylko zrozumiał, że nie grozi już zerwanie, ujrzał wszystkie ujemne strony ponownego zbliżenia. Zresztą cierpiał już mniej, niemal pogodził się już z bólem, którego rany trzeba by może za kilka miesięcy odnowić, o ile by się stosunek nawiązał na nowo. Saint-Loup nie wahał się długo. I może wahał się tylko dlatego, że był wreszcie pewny, iż może odzyskać swoją kochankę; może

<sup>194</sup>ekspatriacja — opuszczenie kraju ojczystego. [przypis edytorski]

— zatem uczyni to. Prosiła go jedynie, aby mogła nie wracać do Paryża na Nowy Rok, chciała odzyskać spokój. Otóż on nie miał siły jechać do Paryża bez widzenia jej. Z drugiej strony, ona godziła się wyjechać z nim w podróż, ale na to trzeba mu było prawdziwego urlopu, którego kapitan de Borodino nie chciał mu dać.

— Martwi mnie to z powodu naszej wizyty u ciotki Oriany; w ten sposób wszystko się odwleka. Ale będę z pewnością w Paryżu na Wielkanoc.

— Wtedy nie będziemy mogli iść do pani de Guermantes, bo będę już w Balbec. Ale to nie ma żadnego znaczenia.

— W Balbec? Ależ w tym roku byłeś tam dopiero w sierpniu.

— Tak, ale obecnie z powodu mego zdrowia mają mnie wysłać wcześniej.

Robert najbardziej się bał, abym nie sądził źle jego kochanki po tym, co mi opowiadał.

— Jest gwałtowna tylko dlatego, że jest zbyt szczerą, zbyt bezpośrednią w swoich uczuciach. Ale to cudna istota! Nie możesz sobie wyobrazić, ile w niej subtelności, poezji. Co roku spędza dzień zaduszny w Bruges. To ma styl, prawda? Jeżeli ją kiedy poznasz, zobaczysz, wspaniała jest... — Że zaś nasiąkł pewnym językiem, jakim mówiono w otoczeniu tej kobiety w kołach literackich, dodał: — Ma coś syderalnego<sup>195</sup>, a nawet watyckiego<sup>196</sup>, rozumiesz co przez to chcę powiedzieć; poeta, który był prawie kapłanem.

Szukałem przez cały obiad pretekstu, który by pozwolił Robertowi poprosić ciotkę, aby mnie przyjęła, nie czekając jego bytności w Paryżu. Otóż pretekstu tego dostarczyło mi pragnienie ujrzenia obrazów Elstira, wielkiego malarza, którego obaj z Robertem poznaliśmy w Balbec. Pretekst, w którym było zresztą coś prawdy; o ile bowiem w swoich wizytach w pracowni Elstira szukałem w jego malarstwie tego, aby mnie przywiodło do zrozumienia i miłości rzeczy lepszych od samego jego malarstwa — prawdziwej odwilży, autentycznego prowincjonalnego rynku, żywych kobiet na plaży (co najwyżej byłbym u niego zamówił portret realności, których nie umiałem zgłębić, jak na przykład szpaleru glogów, nie aby mi utrwalił ich piękność, ale aby mi ją odkrył), tak teraz przeciwnie chęć moją podsycali oryginalność i urok tych obrazów, i ponad wszystko pragnąłem ujrzeć inne płótna Elstira.

Miałem zresztą uczucie, że najbłahsze jego obrazy są czymś innym niż arcydzieła nawet większych malarzy. Dzieło jego było niby zamknięte królestwo o nieprzebranych granicach, niepodobne do żadnego innego. Chciwie gromadząc nieliczne wydawnictwa, w których znajdowały się studia o Elstirze, dowiedziałem się z nich, że on dopiero niedawno zaczął malować pejzaże i martwe natury, zaczął zaś od obrazów mitologicznych (widziałem fotografie dwóch takich obrazów w jego pracowni), a potem długo był pod wpływem sztuki japońskiej.

Niektóre prace Elstira, najznamienniejsze dla jego rozmaitych faz malarskich, znajdowały się na prowincji. Pewien dom w Les Andelys, gdzie był jeden z najpiękniejszych jego pejzażów, wydawał mi się równie szacowny, budził we mnie równie żywe pragnienie podróży jak wioska w okolicy Chartres, gdzie w prosty kamień wprawiony jest wspaniały witraż; do tego posiadacza arcydzieła, do tego człowieka, który w swoim prostym domostwie w miasteczku, zamknięty jak astrolog, bada jedno z owych zwierciadeł świata, jakim jest obraz Elstira, kupiony może przezeń za kilka tysięcy franków, czułem poryw owej sympatii, jaka łączy wręcz serca, nawet charaktery tych, co jednako myślą w jakimś zasadniczym przedmiocie. Otóż trzy dzieła mego ukochanego malarza odnotowano w jednym z wydawnictw jako znajdujące się u pani de Guermantes. Zatem w rezultacie szczerze, w dniu kiedy mi Saint-Loup oznajmił wyjazd kochanki do Bruges, mogłem przy obiedzie w obecności jego przyjaciół rzucić mu niby to niespodzianie:

— Słuchaj, Robercie. Ostatnia rozmowa w przedmiocie damy, którą znasz. Przypominasz sobie malarza Elstira, którego poznałem w Balbec?

— Ale jakże, oczywiście.

— Przypominasz sobie moją admirację<sup>197</sup> dla niego?

— Wybornie, i list któryśmy mu posłali.

<sup>195</sup>syderalny a. syderyczny (z łac.) — gwiazdny, gwiazdowy. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>watycki (neol., z łac.) — wieszcz, natchniony; związany z natchnionym przez bogów wieszczkiem, poetą lub śpiewakiem. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

— Otóż, jedną z najważniejszych przyczyn, dodatkową racją dla której pragnąłbym poznać pomienioną damę, wiesz wciąż którą...

— Ależ tak! Ileż tych nawiasów!

— Jest to, że ona ma u siebie co najmniej jeden bardzo piękny obraz Elstira.

— A, nie wiedziałem.

— Elstir będzie z pewnością na Wielkanoc w Balbec; wiesz, że on spędza teraz prawie cały rok na tym wybrzeżu. Bardzo bym pragnął widzieć ten obraz przed wyjazdem do Balbec. Nie wiem, czy ty jesteś w dość bliskich stosunkach ze swoją ciotką, czy nie mógłbyś — zachwalając mnie jej na tyle zręcznie, aby nie odmówiła — poprosić, żeby mi pozwoliła zobaczyć obraz bez ciebie, skoro ciebie nie będzie w Paryżu.

— Zrobione, odpowiadam za nią, biorę to na siebie.

— Robercie, ubóstwiam cię.

— Mam nadzieję, że to nie pański wyjazd jest przedmiotem tego spisku — rzekł jeden z przyjaciół Roberta. — Pan wie, jeżeli Saint-Loup dostanie urlop, nic się nie powinno zmienić, my jesteśmy tutaj. To będzie może dla pana mniej zabawne, ale dołożymy z naszej strony wszelkiego trudu, aby panu dać zapomnieć o nieobecności Roberta.

W istocie, w chwili gdy się zdawało, że przyjaciółka Roberta sama pojedzie do Bruges, dowiedzieliśmy się, że kapitan de Borodino (dotąd przeciwny temu) udzielił sierżantowi Saint-Loup dłuższego urlopu do Bruges. Oto co zaszło. Książę de Borodino, bardzo dumny ze swojej bujnej czupryny, był wiernym klientem najznakomitszego fryzjera w mieście, niegdyś pracownika u dawnego fryzjera Napoleona III<sup>198</sup>. Kapitan de Borodino był w wybornych stosunkach z tym fryzjerem, bo mimo swoich tajemniczych manier był prosty z prostymi ludźmi. Ale fryzjer, u którego książę miał co najmniej od pięciu lat zaległy rachunek wciąż rosnący od flakonów wody portugalskiej, „Eau des Souverains”, żelazek, brzytwę, pasków, zarówno jak od szamponów, strzyżeń itd., o wiele wyżej cenił Roberta, który płacił gotówką, miał kilka powozów i koni wierzchowych. Dowiedziawszy się o zmartwieniu Roberta, z powodu, iż nie może towarzyszyć kochance, fryzjer przemówił za nim gorąco do księcia spowitego w białe gżło<sup>199</sup>, w chwili gdy balwierz trzymał jego przegiętą głowę z brzytwą na gardle. Opowieść o sercowych przygodach młodego sierżanta wyrwała kapitanowi-księciu uśmiech napoleońskiej pobłażliwości. Mało prawdopodobne jest, aby książę pomyślał o swoim niezapłaconym rachunku; ale polecenie fryzjera sprawiło go w dobry humor w tym samym stopniu, w jakim rekomendacja jakiegoś diuka sprawiłaby go w zły. Jeszcze miał pełno mydła na brodzie, a już urlop był rzeczą załatwioną, podpisaną tego samego wieczora. Co się tyczy fryzjera, który miał zwyczaj chwalić się bez ustanku (aby to sobie ułatwić, przypisywał sobie, z nadzwyczajnym talentem kłamcy, przewagi całkowicie zmyślone), ten, oddawszy faktyczną usługę Robertowi, nie tylko się nią nie chepił, ale nigdy nie wspomniał mu o tym. Można by mniemać, że próżność potrzebuje kłamać, kiedy zaś nie ma powodu tego czynić, ustępuje miejsca skromności.

Wszyscy powtarzali mi, że ilekolwiek czasu zostałbym w Doncières lub kiedykolwiek bym tam wrócił, jeżeli Roberta nie będzie, ich powozy, konie, domy, ich czas, wszystko będzie do mojej dyspozycji. I czułem, że ci młodzi ludzie ze szczerego serca oddają swój zbytek, swoją młodość, energię na usługi mojej słabości.

— Czemu zresztą — mówili koledzy Roberta, nalegając, abym został — nie miałby pan wrócić tu co rok? Widzi pan, że to ciche życie podoba się panu! A nawet interesuje się pan wszystkim, co się dzieje w pułku, jak stary zupak<sup>200</sup>.

Bo wciąż dopytywałem się ich chciwie o klasyfikację rozmaitych znanych mi z nazwiska wojskowych, wedle mniejszego lub większego podziwu, na jaki ich zdaniem zasługują, jak niegdyś w szkole z kolegami w stosunku do aktorów Komedii Francuskiej. Jeżeli w miejsce któregoś z generałów zawsze wymienianego przed innymi — jakiegoś

<sup>198</sup> *Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał zamachu stanu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w 1870 zdetronizowany. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *gżło* a. *gieszło* (daw., gw.) — koszula, szczególnie bieliźniana. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *zupak* (zwykle lekcew.) — zawodowy podoficer. [przypis edytorski]



Galliffeta<sup>201</sup> lub Négriera<sup>202</sup> — któryś z przyjaciół Roberta rzekł: „Ależ Négrier to jeden z najmierniejszych” i rzucał nowe nazwisko, nietknięte i smaczne, jak Pau<sup>203</sup> lub Geslin de Bourgogne<sup>204</sup>, odczuwałem to samo niespodziane szczęście, jak niegdyś, kiedy wyczerpane nazwiska Thirona lub Febvre’a<sup>205</sup> zgasły wobec nagłego rozkwitu nieużytego nazwiska „Amaury”<sup>206</sup>. „Teższy<sup>207</sup> od samego Négriera? Ale w czym, niech mi pan da przykład”. Pragnąłem, aby istniały głębokie różnice nawet między niższymi oficerami pułku, w racjach tych różnic spodziewając się pochwycić istotę wojskowego talentu. Oficerem, którego reputacja szczególnie mnie interesowała, był książę de Borodino, bom go widywał najczęściej. Ale zarówno Saint-Loup, jak jego przyjaciele, o ile oddawali sprawiedliwość pięknemu kapitanowi, któremu szwadron jego zawdzięczał niezrównaną formę, nie lubili go jako człowieka. Nie mówili o nim co prawda tym samym tonem, co o pewnych oficerach wyrosłych z prostego żołnierza, masonach, co nie żyli z innymi i zachowywali przy nich sztywne miny adiutantów; ale nie mieścili też pana de Borodino w liczbie innych oficerów-szlachciców, od których, prawdę mówiąc, nawet w stosunku do Roberta bardzo się różnił wzięciem. Ci korzystali z tego, że Saint-Loup jest tylko podoficerem i że jego potężna rodzina może się czuć szczęśliwa, iż jego przełożeni, którymi by może inaczej gardziła, przyjmują go u siebie; nie tracili też żadnej okazji zaproszenia Roberta, kiedy się im zdarzyło gościć jakąś grubą rybę, mogącą zdać się na coś młodemu sierżantowi. Jeden kapitan de Borodino utrzymywał z Robertem stosunki wyłącznie służbowe, zresztą wyborne. Dziadek kapitana był marszałkiem Francji oraz księciem i parem<sup>208</sup> z łaski cesarza, z którego rodziną spokrewnił się później przez małżeństwo; ojciec kapitana zaślubił kuzynkę Napoleona III i był po zamachu stanu dwa razy ministrem. Mimo to książę-kapitan czuł, że niewiele waży dla Roberta de Saint-Loup i dla wszystkich Guermantów, którzy na odwrót — ponieważ patrzył na rzeczy z innej strony — niewiele ważyli dla niego. Domyślał się, że dla Roberta de Saint-Loup on, spowinowacony z Hohenzollernami<sup>209</sup>, nie jest prawdziwym szlachcicem, ale wnukiem chłopca; dla niego w zamian Saint-Loup był synem człowieka, którego hrabiowski tytuł potwierdził cesarz — nazywano to w Faubourg Saint-Germain „odświeżeni hrabiowie” — i który ubiegał się o prefekturę lub o jakieś inne stanowisko pomieszczone bardzo nisko pod rozkazami jego wysokości księcia de Borodino, ministra Stanu, do którego pisało się „Wasza Dostojność” i który był siostrzeńcem monarchy.

Więcej może niż siostrzeńcem. Pierwsza księżna de Borodino — tak mówiono — miała szczególne względy dla Napoleona I, któremu towarzyszyła na Elbę, druga zaś dla Napoleona III. I o ile w pogodnej twarzy kapitana można było odnaleźć, jeżeli nie naturalne rysy Napoleona I, to bodaj wystudiowany majestat jego maski, oficer ów miał zwłaszcza w melancholijnym i poczciwym spojrzeniu, w opadających wąsach coś, co przywodziło na myśl Napoleona III. Było to tak uderzające, że kiedy po Sedanie<sup>210</sup> poprosił, aby się mógł udać do cesarza, Bismarck<sup>211</sup> zaś, do którego go zaprowadzono, odmówił,

<sup>201</sup> Galliffet, Gaston de (1830–1909) — francuski generał; uczestnik wojny krymskiej, kampanii w Algierii, ekspedycji do Meksyku; szczególnie znany z brutalnego stłumienia Komuny Paryskiej (1871); minister wojny (1899–1900), w okresie sprawy Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> Négrier, François Oscar de (1839–1913) — francuski generał; zdobył sławę w walkach w Algierii (1881) oraz w Tonkinie podczas wojny chińsko-francuskiej (1884–1885); uczestnik wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> Pau, Paul (1848–1932) — francuski generał; uczestnik wojny francusko-pruskiej oraz I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> Geslin de Bourgogne, Yves-Marie (1847–1910) — francuski generał; autor kilku książek o strategii wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> Thirona i Febvre — francuscy aktorzy: Charles Thiron (1830–1891) i Frédéric-Alexandre Febvre (1835–1916). [przypis edytorski]

<sup>206</sup> Amaury (pseud.), właśc. Ernest-Félix Socquet (1849–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

<sup>207</sup> tegi — mocny, dzielny, dobry w swojej dziedzinie. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> par — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

<sup>209</sup> Hohenzollernowie — niemiecka dynastia, której przedstawiciele panowali w krajach niemieckich (m.in. w Brandenburgii i w Prusach), jako cesarze niemieccy (1871–1918) oraz w Rumunii (1869–1947). [przypis edytorski]

<sup>210</sup> bitwa pod Sedanem (1–2 września 1870) — starcie podczas wojny francusko-pruskiej; okrażony cesarz Napoleon III skapitulował i ze swą stutysięczną armią oddał się do niewoli. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich (1871), w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. [przypis edytorski]

tenże Bismarck, spojrzawszy przypadkiem na młodego człowieka, już mającego się oddalić, uderzony tym podobieństwem zmienił zdanie, przywołał go i dał owo pozwolenie, którego mu, jak wszystkim innym, dopiero co wzbronił.

Jeżeli książę de Borodino nie chciał robić awansów Robertowi de Saint-Loup ani innym arystokratom w pułku (często natomiast zapraszał do siebie dwóch poruczników mieszczan, bardzo miłych ludzi), to dlatego, iż patrząc na wszystkich z wyżyn swojej cesarskiej wielkości, robił między niższymi od siebie tę różnicę, że jedni byli niżsi i wiedzieli o tym: z tymi bratał się z przyjemnością, będąc pod majestatycznym pozorem naturą prostą i jowialną; drudzy zaś, będąc niżsi, uważali się za wyższych, czego książę nie dopuszczał. Toteż gdy wszyscy oficerowie pułku nosili na rękach Roberta de Saint-Loup, książę de Borodino, któremu Roberta polecił marszałek de X..., ograniczył się do uprzejmości dla młodego sierżanta w służbie, w której zresztą Saint-Loup był wzorowy. Nigdy nie zaprosił go do siebie, wyjąwszy jakąś specjalną okoliczność, kiedy poniekąd musiał go zaprosić; że zaś sposobność taka nastąpiła w czasie mego pobytu, zachęcił Roberta, aby mnie przyprowadził z sobą.

Tęgo wieczora, widząc Roberta przy stole kapitana, łatwo mogłem ocenić — aż do wzięcia i elegancji każdego z nich — różnicę między dwiema arystokracjami: dawną a cesarską. Robert pochodził z kasty, której wszystkie wady — nawet te, które potępiał całą swoją inteligencją — przeszły mu w krew. Kasta ta, przestawszy co najmniej od wieku mieć jakieś rzeczywiste znaczenie, w protekcyjnej uprzejmości, stanowiącej część jej wychowania, jak konna jazda lub fechtunek, widzi już tylko ćwiczenie uprawiane bez poważnego celu, dla zabawy, w stosunku do mieszczan, którymi ta szlachta na tyle gardzi, aby wierzyć, że owa poufalskość schlebia im i że ich pańska bezceremonialność jest dla nich zaszczytem. Saint-Loup brał poufale za rękę pierwszego z brzegu mieszczakańskiego syna, którego mu przedstawiono, i rozmawiając z nim (przy czym wciąż zakładał nogę na nogę i przeginał się niedbale w tył, trzymając stopę w ręce), mówił mu: „drogi panie”. Książę de Borodino, przeciwnie, pochodził ze szlachty, której tytuły, opatrzone bogatymi majoratami<sup>212</sup> w nagrodę zaszczytnych usług, zachowały jeszcze swoje znaczenie, budząc pamięć wysokich funkcji, dających władzę nad wieloma ludźmi i nakładających konieczność znawstwa ludzi. Książę de Borodino — jeżeli nie w swojej osobistej i jasnej świadomości, to bodaj w swoim ciele, które podkreślało to postawą i wzięciem — uważał swoją godność za rzeczywisty przywilej; do tych samych łyków<sup>213</sup>, których Saint-Loup brałby pod rękę i klepałby po ramieniu, on odnosił się z majestatyczną grzecznością, której dostojny umiar łagodziła uśmiechnięta dobroduszość, nacechowana zarazem szczerą życzliwością i rozmyślną dumą. Wynikało to zapewne stąd, że książę mniej był odległy od wielkich ambasad i od dworu, gdzie jego ojciec piastował najwyższe godności i gdzie maniery Roberta — łokieć na stole i stopa w ręce — byłyby źle przyjęte; ale zwłaszcza płynęło to stąd, że on tym mieszczaństwem mniej gardził, że ono było wielkim zbiornikiem, z którego pierwszy cesarz czerpał swoich marszałków, swoją szlachtę, a w którym drugi znalazł swego Foulda czy Rouhera<sup>214</sup>.

Niewątpliwie w myślach pana de Borodino, cesarskiego syna lub wnuka, którego funkcje ograniczały się do dowodzenia szwadronem, nie mogły, z braku zastosowania, przetrwać horyzonty ojca i dziadka. Ale jak duch artysty wciąż modeluje w wiele lat po jego zgonie posąg, który ów wyrzeźbił, ucieleśniły się w nim one, zmaterializowały się, wcieliły, odbijała je jego twarz. Z żywością głosu pierwszego cesarza łajał wachmistrza, z zadumą i melancholią drugiego puszczał dym z papierosa. Kiedy ubrany po cywilnemu szedł ulicami Doncierres, jakiś błysk oczu wymykający się spod melonika dawał kapitanowi aureolę monarszego incognito; drżano, kiedy wchodził do biura naczelnego kwatermistrza, wiodąc za sobą adiutanta i furiera<sup>215</sup> niby Berthiera i Massenę<sup>216</sup>. Kiedy

<sup>212</sup>majorat — majątek dziedziczony w ten sposób, że całość przechodzi na najstarszego syna. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>łyk (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>Fould i Rouber — ministrowie Napoleona III: minister sprawiedliwości Eugène Rouher (1814–1884) oraz minister finansów Achille Fould (1800–1867). [przypis edytorski]

<sup>215</sup>furier (daw.) — dostawca; podoficer odpowiedzialny za zakwaterowanie wojska i dostarczanie żywności. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Berthier i Massena — marszałkowie cesarza Napoleona I Bonaparte: André Masséna, wł. Andrea Massena (1758–1817) oraz Louis Alexandre Berthier (1753–1815). [przypis edytorski]

wybierał materiał na spodnie dla swego szwadronu, wlepił w pułkowego krawca spojrzenie zdolne przeniknąć Talleyranda<sup>217</sup> i oszukać Aleksandra; a czasem podczas inspekcji koszar przystawał, pozwalał marzyć swoim cudnym niebieskim oczom, kręcił wąsa, robił wrażenie, jakby budował nowe Prusy i nowe Włochy. Ale natychmiast, stając się z Napoleona III Napoleonem I, zauważał, że rzemienie nie są dość wyglancowane i żądał, aby mu dano skosztować żołnierskiej menaży. A u siebie w domu, w życiu prywatnym, dla żon oficerów-mieszczan (byle nie masonów) wyjmował nie tylko serwis z błękitnej sewskiej porcelany, godny ambasadora (darowany jego ojcu przez Napoleona i jak gdyby jeszcze cenniejszy w prowincjonalnym domku, gdzie kapitan mieszkał, niby owe rzadkie porcelany, które turyści z tym większą przyjemnością podziwiają w prostej szafie starego dworu, zmienionego na dostatnią fermę); prezentował również, pośród innych darów cesarza, owo szlachetne i urocze wzięcie, zdolne działać cudy na jakimś reprezentacyjnym stanowisku, gdyby dla pewnych kół być „urodzonym” nie znaczyło być skazanym całe życie na najniesprawiedliwszy ostracyzm, swobodne ruchy, dobroć, wdzięk oraz tajemniczo prześwieconą i dziedziczną relikwię spojrzenia, kryjącą wspaniałe obrazy również pod emalią królewskiego błękitu.

W związku ze stosunkami, jakie książę utrzymywał w Doncières, trzeba przytoczyć jeden fakt. Podpułkownik grał cudownie na fortepianie, żona naczelnego lekarza śpiewała jak skończona artystka. Lekarz z żoną, zarówno jak podpułkownik z żoną, bywali co tydzień na obiedzie u pana de Borodino. Pochlebiali im to niewątpliwie; wiedzieli, że kiedy książę jest w Paryżu, bywa na obiedzie u pani de Pourtalès, u Muratów itd. Ale powiadali sobie: „To prosty kapitan, aż nadto szczęśliwy jest, że bywamy u niego. To zresztą prawdziwy nasz przyjaciel”. Ale kiedy pana de Borodino, który od dawna robił starania, aby się zbliżyć do Paryża, przeniesiono do Beauvais, zmieniawszy garnizon, zapomniał o dwóch muzykujących parach równie dokładnie, co o teatrze w Doncières i o restauracyjce, skąd często kazał sobie przynosić śniadanie; i ku ich wielkiemu oburzeniu ani podpułkownik, ani naczelnik lekarz, którzy tak często bywali u kapitana na obiedzie, nie otrzymali już w życiu wiadomości od niego.

Pewnego rana Saint-Loup wyznał mi, iż napisał do mojej babki, aby jej donieść o mnie i poddać jej myśl pomówienia ze mną, skoro istnieje połączenie telefoniczne między Doncières a Paryżem. Krótko mówiąc, jeszcze tego dnia miała mnie wezwać do aparatu: Robert poradził mi, abym był przed czwartą na poczcie. Telefon nie był wówczas tak rozpowszechniony jak dziś. A jednak przyzwyczajenie tak mało potrzebuje czasu, aby odrzeć z tajemnicy uświęcone formy, z którymi się stykamy, że kiedyś nie otrzymał zaraz połączenia, jedyną moją myślą było utyskiwać na tę zwłokę, na niewygodę — niemal chciałem wnieść zażalenie! Jak my wszyscy teraz, nie uważałem za dość szybką w stosunku do swoich pragnień tej czarodziejskiej feerii, dla której kilka chwil wystarcza, aby się zjawiała tuż koło nas — niewidzialna, ale obecna istota, z którą chcieliśmy mówić i która, siedząc u siebie przy stole, w odległym mieście (dla babki był nim Paryż) pod innym niebem, w inną może pogodę, wśród okoliczności i zajęć, których nie znamy i o których ta istota nas powiadomi, przenosi się nagle o setki mil (wraz z całą otaczającą atmosferą) i zjawia się tuż koło naszego ucha w chwili, gdy nasz kaprys tego zażąda. I jesteśmy niby człowiek z bajki, któremu wróżka na wyrażone przez niego życzenie ukazuje w nadprzyrodzonym blasku babkę lub narzeczoną, przeglądającą książkę, lejącą lzy, zrywającą kwiaty, tuż obok, a jednak bardzo daleko, tam, gdzie się znajduje istotnie. Wystarczy nam dla ziszczenia cudu zbliżyć wargi do magicznej płytki i wzywać — czasem trochę długo, przyznając — Czuwające Dziewice<sup>218</sup>, których głos słyszymy co dzień, nie znając nigdy ich twarzy; to są nasze anioły-stróże w zawrotnych ciemnościach, których drzwi zazdrośnie strzegą; one, wszechpotężne, dzięki którym mocy nieobecni zjawiają się koło nas, mimo iż nie wolno nam ich ujrzeć; Danaidy<sup>219</sup> Niewidzialnego, które bez przerwy opróżniają,

Czary

<sup>217</sup> Talleyrand, właśc. *książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *Czuwające Dziewice* — westalki, rzymskie kapłanki strzegące świętego ognia w świątyni bogini Westy, patronki ogniska domowego; ślubowały dziewictwo. [przypis edytorski]

<sup>219</sup> *Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

napęlniają, podają sobie urny dźwięków; ironiczne Furie<sup>220</sup>, które — w chwili gdy szepcemy ukochanej poufne słowa w nadziei, że ich nikt nie słyszy — krzyczą nam okrutnie: „Słucham”; wciąż gniewne służebnice Tajemnicy, chmurne kapłanki Niewidzialnego — telefonistki!

I skoro tylko nasze wołanie rozlegnie się w pełnej zjaw nocy, na którą otwierają się same tylko uszy, lekki szmer — szmer abstrakcyjny — szmer zniesionej odległości — i oto zwraca się do nas głos drogiej istoty.

To ona, to jej głos mówi do nas, jest tutaj. Ale jakież daleki! Ileż razy nie mogłem go słuchać bez ucisku serca, jak gdybym, wobec niemożliwości widzenia — bez długich godzin podróży — tej, której głos był tak blisko mego ucha, lepiej czuł, ile zawodnego jest w pozorze najśłodsze zbliżenia i jak daleko możemy być od ukochanych osób w chwili, gdy się zdaje, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, aby je zatrzymać. Rzeczywista obecność — ten głos tak bliski — przy istotnym rozłączeniu! Ale także przedsmak wiekuistej rozłąki! Często, słuchając w ten sposób, nie widząc tej, co do mnie mówiła z tak daleka, miałem wrażenie, że ten głos woła z głębokości, skąd się nie wraca, i poznałem ucisk serca, jaki miałem odczuć kiedyś, kiedy głos wróci w ten sposób (sam, niezwiązany z ciałem, którego nie miałem już nigdy ujrzeć), aby szeptać do mego ucha słowa, które byłbym chciał ucałować w przelocie na wargach zmienionych w proch na wieki.

Tego dnia, niestety, w Doncières cud się nie spełnił. Kiedym wchodził do kabiny, okazało się, że babka już mnie wzywała; wszedłem, linia była zajęta, ktoś rozmawiał, nie wiedząc zapewne, że nie ma nikogo, kto by mu odpowiedział, bo kiedy wziąłem słuchawkę, ten kawałek drzewa zaczął paplać na kształt poliszynela<sup>221</sup>; uciszyłem go, jak się robi w budzie jarmarcznej, odkładając go na miejsce; z chwilą gdy go zbliżył do siebie, poliszynel zaczął gadać na nowo. Zwątpiwszy o połączeniu, powiesiłem ostatecznie słuchawkę, zdołałem zdławić konwulsje tego dźwięcznego trzonka, który paplał do ostatniej chwili. Poszedłem po urzędnika, powiedział mi, abym zaczekał chwilę. Potem zacząłem rozmawiać i po momencie ciszy usłyszałem ten głos, o którym mylnie sądziłem, że go znam tak dobrze. Dotąd, za każdym razem kiedy babka mówiła ze mną, śledziłem zawsze słowa na otwartej partycji<sup>222</sup> jej twarzy, gdzie oczy zajmowały wiele miejsca, ale sam w sobie jej głos słyszałem dziś po raz pierwszy. I dlatego że mi się ten głos wydawał zmieniony w proporcjach od chwili, gdy był wszystkim, dochodząc do mnie sam, bez akompaniamentu rysów twarzy, odkryłem, jak bardzo jest słodki; może zresztą nigdy nie był nim w tym stopniu, bo babka, czując, że jestem daleko i nieszczęśliwy, sądziła, że może dać folgę czułości, którą dla „zasady” pedagogicznej zazwyczaj powściągała i kryła. Był słodki, ale zarazem tak smutny! Po pierwsze, z przyczyny swojej słodczy, był prawie zupełnie oczyszczony — jak mało który ludzki głos — z wszelkiej twardości, z wszelkiego odporu, z wszelkiego egoizmu; kruchy w swojej delikatności, zdawał się co chwila gotów załamać, zamrzeć w czystym strumieniu łez; po wtóre, kiedym miał ten głos koło siebie, sam, widziany bez maski twarzy, spostrzegłem po raz pierwszy zgrzyzoty, które go rozbiły w biegu życia.

Czy to zresztą wyłącznie głos — przez to, że był sam — dawał mi owo nowe wrażenie, które mnie rozdzierało? Nie; raczej ta izolacja głosu była niby symbol, ewokacja<sup>223</sup>, bezpośredni skutek innej izolacji — pierwszej rozłąki babki ze mną. Przestrogi i zakazy, jakimi mnie obsypywała co chwila w powszednim życiu, zniecierpliwienie posłuchu lub gorączka buntu, neutralizujące czułość moją dla niej, nie istniały w tej chwili, a nawet mogły przestać istnieć na przyszłość. Babka nie upierała się już mieć mnie koło siebie, pod swoim okiem; wyrażała właśnie nadzieję, że ja zostanę na dobre w Doncières lub w każdym razie przeciągnę pobyt możliwie najdłużej, co może wyjść na dobre memu zdrowiu i pracy. Toteż to, com miał pod tym małym kloszem przyłożonym do mego ucha, to była nasza wzajemna czułość, która, oswobodzona od przeciwnych ciśnień, co dnia stwarzających jej przeciwwagę, stawała się czymś nieodpartym, rozsadzała mnie po prostu. Mówiąc, abym został, babka obudziła we mnie trwożliwe i szalone pragnienie powrotu. Swoboda, jaką mi zostawiała teraz wbrew wszelkiemu spodziewaniu, wydała

<sup>220</sup>*Furie* (mit. rzym.) — okrutne boginie zemsty. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>*poliszynel* — postać z *commedia dell'arte*, złośliwy gbur, prześmiewca. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>*partycji* (daw.) — partytura, szczegółowy zapis nutowy utworu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*ewokacja* — wywołanie wspomnień, skojarzeń lub wizji czegoś. [przypis edytorski]

mi się nagle równie smutna, jak mogłaby być smutna wolność moja po jej śmierci (kiedy bym ją kochał jeszcze i kiedy by się ona całkiem mnie wyrzekła). Krzychałem: „Babciu, babciu” i byłbym chciał uściskać ją; ale miałem koło siebie tylko ten głos, widmo, równie nieuchwytnie jak to, które wróci może nawiedzić mnie, kiedy babka umrze. „Mów do mnie”; ale wówczas stało się, że się uczułem jeszcze bardziej sam, nagle zupełnie przestałem słyszeć ten głos. Babka nie słyszała mnie już, straciła kontakt ze mną, przestaliśmy być naprzeciw siebie, być dla siebie wzajem słyszalni. Wołałem ją dalej, macając w ciemności, czując, że i jej wołania muszą się gubić. Drżałem tym samym wzruszeniem, jakim doznałem niegdyś, bardzo dawno, w dniu, kiedy jako małe dziecko zgubiłem ją w tłumie; drżałem nie tyle o to, że jej nie odnajdę, ile o to, że ona mnie szuka, czułem, iż sobie mówi, że ja jej szukam; uczucie dosyć podobne do tego, jakim doznałem w dniu, kiedy się mówi do osób, które już nie mogą odpowiedzieć, a którym chciałoby się bodaj rzecz wszystko, czego się im nie powiedziało w życiu, i zapewnić je, że się nie cierpi. Zdawało mi się, że to już jest drogi cień, któremu dałem się zgubić wśród cieniów; samotny przed aparatem, dalej powtarzałem daremnie: „Babciu, babciu”, jak Orfeusz<sup>224</sup>, zostawszy sam, powtarza imię zmarłej.

Zdecydowałem się opuścić pocztę, wywołać Roberta z restauracji, aby mu powiedzieć, że spodziewając się depezy, która mnie może zmusi do wyjazdu, chciałbym na wszelki wypadek znać rozkład pociągów. A jednak przed powzięciem tego postanowienia byłbym chciał ostatni raz wezwać Córy Nocy, Wysłanniczki Głosu, boginie bez twarzy; ale kapryśne Strażniczki nie chciały — lub zapewne nie mogły — otworzyć cudownych bram; daremnie wzywały niestrudzenie, swoim zwyczajem, czcigodnego wynalazcę druku oraz młodego księcia, miłośnika impresjonizmu i zapalonego automobilistę (który był siostrzeńcem kapitana de Borodino): Gutenberg i Wagram<sup>225</sup> zostawili ich błagania bez odpowiedzi. Odszedłem, czując, że wzywane przeze mnie Niewidzialne pozostanie głuche.

Odnajdując Roberta i jego kolegów, nie wyznałem im, że serce moje nie jest już z nimi, że wyjazd mój jest nieodwołalny. Robert udawał, że wierzy, ale jak dowiedziałem się później, od pierwszej minuty rozumiał, że moja niepewność jest udana i że jutro mnie już nie będzie. Podczas gdy, dając stygnąc potrawom, koledzy Roberta szukali wraz z nim najlepszego pociągu do Paryża i gdy w gwieździstej i zimnej nocy słychać było gwizd lokomotyw, nie czułem, to pewne, spokoju, jaki mi dała tutaj przez tyle wieczorów przyjaźń tych młodych ludzi oraz dalekie przesuwanie się pociągów. Ale i tego wieczora, mimo że w innej formie, pozostali wierni swojej roli. Wyjazd przygnębiał mnie mniej, kiedy nie musiał o nim myśleć sam jeden; kiedy czułem w tej sprawie udział normalniejszej i zdrowszej energii swoich dzielnych przyjaciół, kolegów Roberta, oraz owych innych silnych istot — pociągów, których ustawiczne krążenie między Doncières a Paryżem rozdrabniało retrospektywnie to, co było zbyt gęste i uciążliwe w mojej długiej rozłące z babką, na każdodziennie możliwości powrotu.

— Nie wątpię o prawdzie twoich słów i o tym, że nie zamierzasz jeszcze wyjeżdżać — rzekł, śmiejąc się Saint-Loup — ale rób tak, jakbyś jechał, i przyjdź się pożegnać ze mną wcześniej rano, inaczej grozi nam to, że cię nie zobaczę. Zaproszony jestem na śniadanie, kapitan zwolnił mnie, na drugą muszę wracać do koszar, bo jedziemy na ćwiczenia na cały dzień. Facet, u którego mam śniadanie o trzy kilometry stąd, odwiezie mnie z pewnością, tak abym był w koszarach na drugą.

Jeszcze nie skończył mówić, kiedy przysłano po mnie z hotelu: wzywano mnie z poczty do telefonu. Pobiegłem, bo już miano zamykać pocztę. Słowo „międzymiastowa” powtarzało się raz po raz w odpowiedziach, jakie mi dawali urzędnicy. Byłem straszliwie niespokojny, bo to babka mnie wzywała. Zamykano już. Wreszcie dostałem połączenie. „Czy to ty, babciu?”. Głos kobiety o silnym akcencie angielskim odpowiedział: „Tak, ale

<sup>224</sup> Orfeusz (mit. gr.) — niezrównany tracki śpiewak i poeta; zszedł do podziemnej krainy zmarłych po swą żonę Eurydykę, zmarłą od ukąszenia węża; oczarował swoim śpiewem królujących tam Hadesa i Persefonę, którzy zgodzili się na powrót Eurydyki, stawiając warunek, że będzie szedł przed nią i nie obejrzy się za siebie, aż oboje wyjdą; Orfeusz tuż przed wyjściem z podziemia spojrzął na żonę i stracił ją na zawsze. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> Gutenberg i Wagram — nazwy dwóch głównych central telefonicznych w Paryżu, otwartych w 1892–1893; nazwane na cześć Jana Gutenberga (1398–1468), wynalazcy druku, oraz Alexandre’a Louisa Philippe’a Marie Berthier, ostatniego księcia Wagram (1883–1918). [przypis edytorski]

nie poznaję twojego głosu”. I ja nie poznawałem głosu, który do mnie mówił; przy tym babka nie mówiła mi nigdy „vous”<sup>226</sup>. W końcu wszystko się wyjaśniło. Młody człowiek, którego babka wzywała do telefonu, miał nazwisko prawie identyczne z moim i mieszkał w filii hotelu. Ponieważ wezwano mnie tegoż samego dnia, w którym ja chciałem telefonować do babki, nie wątpiłem ani przez chwilę, że to ona mnie wzywa. Prosty zbieg okoliczności stał się przyczyną podwójnej omyłki na poczcie i w hotelu.

Nazajutrz rano spóźniłem się; nie zastałem Roberta, który już pojechał na śniadanie w sąsiedztwo. Około wpół do drugiej wybierałem się na wszelki wypadek do koszar, aby tam być w chwili jego przybycia. Naraz, idąc wiodącą tam aleją, ujrzałem jadące w tym samym kierunku tilbury<sup>227</sup>, które mijając mnie, kazało mi uskoczyć na bok. Powoził podoficer z monoklem w oku; był to Saint-Loup. Obok niego siedział przyjaciel, u którego był na śniadaniu i którego już raz spotkałem w hotelu, gdzie się Robert stołował. Nie śmiałem wołać Roberta, skoro nie był sam, ale chcąc, aby się zatrzymał i wziął mnie z sobą, ściągnąłem jego uwagę ceremonialnym ukłonem, usprawiedliwionym obecnością nieznanego. Wiedziałem, że Robert ma krótki wzrok, ale myślałem, że gdyby mnie tylko zobaczył, poznałby mnie z pewnością; otóż on spostrzegł ukłon i oddał mi go, ale nie zatrzymując się. Oddalając się pędem, bez uśmiechu, bez drgnienia jednego mięśnia w twarzy, przyłożył jedynie palce do kepi, tak jakby odpowiadał na ukłon nieznanego żołnierza.

Pobiegłem do koszar, ale to było jeszcze daleko; kiedy przybyłem, pułk formował się na dziedzińcu, gdzie mi nie pozwolono zostać. W rozpaczy, że się nie mogę pożegnać z Robertem, poszedłem do jego pokoju, gdzie go nie było; zdołałem się dopytać o niego w gromadce „marodów”, rekrutów zwolnionych od marszu, młodego maturzysty oraz starego zupaka, którzy się przyglądali, jak pułk się formuje.

— Czy panowie nie widzieli sierżanta Saint-Loup? — spytałem.

— Zeszedł, proszę pana — rzekł zupak.

— Nie widziałem go — rzekł maturzysta.

— Nie widziałeś go — rzekł zupak, nie zajmując się już mną — nie widziałeś naszego morowca Saint-Loup, jak on paraduje w swoich nowych portczętach; kiedy go kapitan zobaczy, wścieknie się: oficerskie sukno!

— Cha, Cha! ty masz dobre kawały, oficerskie sukno — rzekł maturzysta, który jako „marod” nie szedł na ćwiczenia i próbował, nie bez pewnego niepokoju, stawiać się zupakom. — To oficerskie sukno, to sukno takie jak to.

— Ej, ej, panie, panie... — krzyknął z gniewem zupak, który mówił o „portczętach”.

Był oburzony, że młody maturzysta podał w wątpliwość fakt oficerskiego sukna; ale, jako Bretończyk urodzony we wsi, która się zowie Penguern-Stereden, wyuczywszy się po francusku z równym trudem, co gdyby to był język angielski lub niemiecki, kiedy się czuł wzruszony, powtarzał kilka razy „panie”, aby zyskać czas na znalezienie słów; po czym, po tym przygotowaniu, dawał folgę swojej wymowie, zadowolając się powtarzaniem kilku wyrazów, które znał lepiej od innych, ale bez pośpiechu, siląc się na poprawne wymawianie.

— A, to takie sukno jak to — powtórzył z gniewem, którym barwiła się stopniowo energia i powolność wysłowienia. — A, to takie sukno: kiedy ci mówię, że to sukno oficerskie, kiedy ci powiem, skoro ja ci to powiem, to ja myślę, że ja wiem, co mówię. Nie nas bujać takimi bajdami.

— A, w takim razie, to chyba — rzekł maturzysta zwyciężony tą argumentacją.

— O patrz, właśnie przechodzi kapichrust. Nie! popatrz tylko na naszego Saint-Loupka; patrz, jak on wyrzuca nogami i spójrz na jego facjatę. Czy powiedziałby kto, że to podoficer? A monok! Cha, cha! ten sobie lata.

Poprosiłem tych żołnierzy, którzy nic sobie nie robili z mojej obecności, żeby mi pozwolili też spojrzeć przez okno. Nie przeszkodzili mi ani się nie usunęli. Ujrzałem kapitana de Borodino, przejeżdżał majestatycznie truchtem, zdając się żywić złudzenie, iż bierze udział w bitwie pod Austerlitz. Kilku przechodniów skupiło się przed bramą, aby

<sup>226</sup>vous (fr.) — zaimke 2. os. lm: wy; używany także jako forma grzecznościowa przy zwracaniu się do pojedynczej osoby (pan, pani) lub większej liczby osób (państwo). [przypis edytorski]

<sup>227</sup>tilbury — lekki, otwarty powóz dwukołowy o dużych kołach, opracowany na pocz. XIX wieku przez londyńską firmę Tilbury; dostosowany do szybkiego poruszania się po nierównych drogach. [przypis edytorski]

patrzeć, jak pułk będzie wyjeżdżał. Wyprostowany na koniu, z twarzą nieco zbyt pulchną, z policzkami o cesarskiej pełni, z jasnym spojrzeniem, księżę musiał być igraszką jakiejś halucynacji, jak ja za każdym razem, kiedy po przejściu tramwaju cisza następująca po łomocie zdawała mi się jak gdyby prądkowana mglistym drganiem muzycznym. Byłem w rozpacz, że się nie pożegnał z Robertem, ale pojechałem i tak, bo moją jedyną myślą było wrócić do babki. Do owego dnia, w tym małym miasteczku, kiedy myślałem, co babka robi sama, przedstawiałem ją sobie taką, jak była ze mną, ale wyłączając siebie, bez zdania sobie sprawy z następstw tego wyłączenia; teraz musiałem się w jej ramionach czym prędzej wyzwolić z widma niepodejrzewanego dotąd, a wywołanego nagle głosem babki, faktycznie rozdzielonej ze mną, zrezygnowanej, posiadającej — czego dotąd nigdy w niej nie znałem — wiek, odbierającej ode mnie list w pustym mieszkaniu, w jakim już sobie wyobrażałem mamę wówczas, kiedy wyjechałem do Balbec.

Niestety, właśnie to widmo ujrzałem, kiedy, wszedłszy do salonu bez uprzedzenia babki o powrocie, zastałem ją w trakcie czytania. Byłem tam, lub raczej nie byłem tam jeszcze, skoro ona nie wiedziała o tym: jak kobieta zaskoczona przy jakiejś robótce, którą chowa, kiedy wchodzimy, pogrążona była w myślach, jakich nigdy nie zdradzała przede mną. Mocą ulotnego przywileju, dzięki któremu przez krótką chwilę powrotu zyskujemy zdolność nagłego asystowania własnej nieobecności, był tam ze mnie jedynie świadek, obserwator, w kapeluszu i płaszczu podróżnym, ktoś obcy, nienależący do tego domu, fotograf przychodzący robić zdjęcie miejsc, których już nie ujrzymy. To, co się mechanicznie dokonało w tej chwili w moich oczach, kiedy spostrzegłem babkę, to była w istocie fotografia! Zawsze widzimy drogie nam istoty jedynie w żywym kontekście, w ciągłym ruchu naszej nieustannej tkliwości, która zanim pozwoli do nas dojść obrazom, jakie dla nas przedstawia ich twarz, chwyta je w swój wir, rzuca je na ideę, jaką sobie o nich tworzymy „od zawsze”, stapia je z tą ideą, zespala je z nią. W jaki sposób, skoro czoło i policzki babki wyrażały dla mnie to, co było najdelikatniejszego i najtrwalszego w jej duszy; w jaki sposób, skoro wszelkie nawykowe spojrzenie jest nekromancją, a każda ukochana twarz zwierciadłem przeszłości, w jaki sposób nie byłbym w niej pominął tego, co w niej mogło zgrubić i ulec zmianie, wówczas kiedy nawet w najobojętniejszych obrazach życia oko nasze, brzemienne myślą, opuszcza (tak jakby to zrobiła tragedia klasyczna) wszystkie zbyteczne dla akcji obrazy, zatrzymując jedynie te, które mogą cel uczynić zrozumiałym. Ale niech w miejsce naszego oka spojrzysz czysto materialna soczewka, płyta fotograficzna, wówczas, na przykład w dziedzińcu Instytutu<sup>228</sup> zamiast wychodzącego akademika<sup>229</sup>, który woła fiakra, ujrzymy jego zataczanie się, jego wysiłki, aby się nie przewrócić wstecz, parabolę jego upadku, tak jakby był pijany lub jakby dziedziniec pokryty był gołoledzią. Tak samo się dzieje, kiedy jakiś okrutny podstęp przypadku przeszkodzi naszej inteligentnej i zbożnej czułości nadbiec na czas, aby ukryć naszym spojrzeniom to, czego nie powinny nigdy oglądać; kiedy ją wyprzedzi owo *coś*, co przybywszy pierwsze na miejsce i zostawione samemu sobie, funkcjonuje mechanicznie na kształt czulej błonki i pokaże nam w miejsce ukochanej istoty, która nie istnieje już od dawna, ale której śmierć czułość nasza zawsze chciała przed nami utaić — nową istotę, którą po sto razy dziennie czułość ta stroiła drogim i kłamliwym podobieństwem. I jak chory, który się nie oglądał od dawna, komponujący co chwilę twarz — której nie widzi — wedle idealnego obrazu, jaki nosi o sobie samym w swojej myśli, cofa się, widząc w lustrze, na wyschłej i spustoszonej twarzy, skośną i zaczerwienioną protuberancję<sup>230</sup> nosa olbrzymiego na kształt piramidy egipskiej, tak ja, dla którego babka była jeszcze mną samym, ja, którym nigdy nie widział jej inaczej niż w swojej duszy, wciąż w tym samym miejscu przeszłości, poprzez przezroczystość otaczających ją ze wszech stron uśmiechów, nagle, w naszym salonie, tworzącym część nowego świata — świata czasu — tego, gdzie żyją ludzie obcy, o których się mówi „bardzo się zestarzał”, pierwszy raz i tylko na chwilę, bo ten obraz znikł bardzo szybko —

<sup>228</sup> *Instytut* — Instytut Francuski, obejmujący pięć towarzystw naukowych: Akademię Francuską, Akademię Napisów i Literatury Pięknej, Akademię Nauk, Akademię Sztuk Pięknych i Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. [przypis edytorski]

<sup>229</sup> *akademik* (daw.) — profesor akademii, uniwersytetu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>230</sup> *protuberancja* — jasna struktura widoczna ponad brzegiem tarczy słonecznej, składająca się ze stosunkowo gęstej plazmy; protuberancje obserwuje się podczas całkowitych zaćmień słońca lub za pomocą koronografu. [przypis edytorski]

na kanapie, pod lampą ujrzałem czerwoną, ciężką i pospolitą, chorą, zadumaną, wodzącą po książce błędnymi nieco oczami, przygnębioną starą kobietę, której nie znałem.

Na moją prośbę, abym mógł obejrzeć Elstiry pani de Guermantes, Saint-Loup rzekł: „Odpowiadam za nią”. I w istocie, na nieszczęście, jedynie on odpowiedział za nią. Łatwo odpowiadamy za innych, kiedy, rozporządzając w swoich myślach obrazkami, które ich wyobrażają, poruszamy nimi wedle naszej woli. Zapewne, nawet w tej chwili bierzemy w rachubę trudności wynikające z natury każdej z tych osób, różnej od nas, i nie zaniebujemy uciec się do jakiegoś sposobu działania mającego na nich wpływ — interesu, perswazji, wzruszenia, zdolnych zneutralizować przeciwne skłonności. Ale ową różność od naszej natury również wyobraża sobie nasza natura; to my usuwamy te trudności, my dawkujemy te skuteczne sposoby. I kiedy chcemy w życiu ziszczyć owe gesty, któreśmy w swoich myślach kazali powtarzać drugiej osobie zgodnie z naszą wolą, wszystko się zmienia: natykamy się na nieprzewidziane opory, często nie do pokonania. Jednym z najsilniejszych jest niewątpliwie opór zrodzony w niekochającej kobiecie z niezwykłego obmierzłego wstretu, jaki w niej budzi człowiek, który ją kocha. W ciągu długich tygodni, przez które Saint-Loup nie mógł przybyć do Paryża, ciotka jego (do której ponad wszelką wątpliwość napisał z prośbą o to) nie zaprosiła mnie ani razu, abym przyszedł obejrzeć obrazy Elstira.

Odczułem chłód jeszcze ze strony innej osoby w domu. Osobą tą był Jupien. Czy uważał, że powinienem być zająć do niego przywitać się, wróciwszy z Doncières, zanim nawet wszedłem do domu? Matka zapewniła mnie, że nie, że nie trzeba się temu dziwić. Franciszka mówiła jej, że Jupien jest już taki, że miewa takie nagłe humory bez powodu. Przechodzi mu to po niedługim czasie.

Tymczasem zima dobiegła końca. Pewnego rana, po kilku tygodniach słoty i burz, usłyszałem w swoim kominku — w miejsce bezkształtnego, elastycznego i posępnego wichru, który budził we mnie dreszcz tęsknoty za morzem — gruchanie gołębi, gnieżdzących się w murze: tęczowe, nieprzewidziane jak pierwszy hiacynt, łagodnie rozdzielające swoje żywicielskie serce, iżby trysnął jego dźwięczny i atlasowy kwiat koloru lila, wpuszczające, na kształt otwartego okna, do mojego zamkniętego jeszcze i czarnego pokoju ciepło, blask, znużenie pierwszego ładnego dnia. Owego rana chwyciłem się na tym, że nucił aryjkę z *café concert*<sup>231</sup>, której zapomniałem od owego roku, gdy miał jechać do Florencji i do Wenecji. Tak głęboko atmosfera, zależnie od dnia, działa na nasz organizm i z ciemnych składów, gdzieśmy ich zapomnieli, dobywa melodie zapisane, ale nieodcyfrowane naszą pamięcią. Niebawem bardziej świadomy marzyciel towarzyszył temu muzykowi, któremu słuchał w samym sobie, nie poznawszy nawet zrazu, co on gra.

Czułem, iż raczej, dla których, kiedym przybył do Balbec, nie znalazłem już w miejscowym kościele oroku, jaki miał dla mnie, zanim go poznałem, to nie są raczej szczególnie związane z Balbec; że we Florencji, w Parmie czy w Wenecji wyobrażenia moja też nie lepiej umiałyby się podstawić w miejsce moich oczu, aby patrzeć. Czułem to. Tak samo pewnego wieczora w Nowy Rok, z zapadnięciem nocy, przed słupem z afiszami odkryłem, że złudzeniem jest wiara, iż pewne świąteczne dni różnią się zasadniczo od innych. A mimo to wspomnienie czasu, kiedym się spodziewał spędzić Wielki Tydzień we Florencji, nadal spowijało ją niby atmosferą miasta kwiatów, dając równocześnie Wielkiej Nocy coś florenckiego, a Florencji coś wielkanocnego. Wielki Tydzień był jeszcze daleko; ale w szeregu dni, który się rozciągał przede mną, dni świąteczne odcinały się jaśniej od zwyczajnych. Tknięte promieniem, jak pewne domy w wiosce widzianej z daleka w grze światła i cieni, skupiały na sobie wszystko słońce.

Robiło się coraz cieplej. Nawet rodzice, radząc mi, abym chodził na spacer, dostarczali mi pretekstu do wznowienia rannych wypraw. Byłbym chciał ich zaprzestać, bom spotykał

<sup>231</sup> *café concert* a. *café chantant* (fr.) — kawiarnia z występami artystycznymi i śpiewem; kabaret. [przypis edytorski]



na nich panią de Guermantes. Ale właśnie dlatego wciąż myślałem o tych spacerach, co sprawiało, że znajdowałem dla nich wciąż nowe racje niemające żadnego związku z panią de Guermantes i dowodzące mi bez trudu, że gdyby ona nie istniała, tak samo szedłbym na spacer o tej samej porze.

Niestety! o ile byłoby mi obojętne spotkać wszelką inną osobę niż ona, o tyle czułem, że dla niej spotkanie z kimkolwiek byłoby znośniejsze niż spotkanie ze mną. Zdarzało się jej w ciągu rannej przechadzki odklaniać wielu notorycznym durniom, przy czym widok ich uważała, jeżeli nie za wróżbę przyjemności, to bodaj za wynik przypadku. I zatrzymywała ich czasem, bo są chwile, kiedy mamy ochotę wyjść z siebie, przyjmując gościnę w duszy drugich, pod warunkiem, żeby ta dusza, choćby najskromniejsza i najbrzydsza, była duszą cudzą, podczas gdy księżna czuła z rozpaczą i ze wstrętem, że w mojej duszy odnalazłaby jedynie siebie samą. Toteż nawet kiedym miał dla obrania tej drogi inny powód niż to, aby ją zobaczyć, drżałem jak zbrodniarz w chwili, gdy ona przechodziła; czasem, pragnąc niejako zneutralizować to, co w moim zachowaniu mogło się wydać natręctwem, ledwie odpowiadałem na ukłon księżnej lub przyglądałem się jej, nie kłaniając się. Osiągałem tylko tyle, żem ją drażnił jeszcze bardziej i że zaczęła mnie w dodatku uważać za impertynenta i gbura.

Księżna nosiła teraz suknie lżejsze lub bodaj jaśniejsze i sunęła ulicą, gdzie — jak gdyby już była wiosna — w wąskich sklepach, wciśniętych w szerokie fasady starych arystokratycznych pałaców, na wystawie handlarki masła, owoców, jarzyn, zapuszczone były stopy dla ochrony od słońca. Powiadałem sobie, że kobieta zbliżająca się ku mnie z daleka, otwierająca umbrelkę<sup>232</sup>, przechodząca na drugą stronę ulicy, jest, zdaniem znawców, największą współczesną artystką w sztuce wykonywania tych gestów i czynienia z nich czegoś rozkosznego. Szła; ciało jej, nieświadome tej szerokiej reputacji, szczupłe, odporne i obce, gięło się pod lekkim jedwabiem lila; chmurne i jasne jej oczy patrzyły niedbale przed siebie i spostrzegły mnie może; księżna przygryzała wargi; widziałem, jak poprawia mufkę, daje grosz ubogiemu, kupuje bukiet fiołków od kwiaciarki. Patrzyłem na nią z tą samą ciekawością, z jaką bym śledził ruchy pędzla u wielkiego malarza. I kiedy, mijając mnie, kiwała mi głową, łącząc niekiedy z tym gestem nikły uśmiech, miałem wrażenie, że wykonała dla mnie — przydając dedykację — rysunek, będący arcydziełem. Każda jej suknia wydawała mi się naturalną i konieczną atmosferą, projekcją odrębnego stanu jej duszy.

Pewnego wielkopostnego ranka, kiedy księżna miała jakieś prozzone śniadanie, spotkałem ją w aksamitnej żywoczerwonej sukni, lekko wyciętej. Twarz pani de Guermantes, okolona włosami blond, wydawała się rozmarzona. Uczulem się mniej smutny niż zwykle, bo jej melancholijny wyraz — rodzaj klauzury<sup>233</sup>, siłą koloru odcinającej ją od reszty świata — dawał jej coś nieszczęśliwego i samotnego, co mi dodawało otuchy. Ta suknia zdawała mi się dokoła niej materializacją szkarłatnych promieni serca, którego w niej nie znałem i które mógłbym może pocieszyć; spowita w mistyczne światło łagodnych fałdów materii, księżna wydawała mi się niby jakaś święta z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Wówczas odczuwałem wstyd, że mierzę swoim widokiem tę męczennicę. „Ale ostatecznie — powiadałem sobie — ulica jest dla wszystkich”.

„Ulica jest dla wszystkich” — powtarzałem, dając tym słowom odmienne znaczenie i podziwiając, że na tej ulicy, ludnej, często mokrej od deszczu i szacownej w tej chwili niby jaka ulica starożytnych miast Italii, księżna de Guermantes z życiem publicznym miesza chwile swego poufnego życia, ukazując się oto każdemu — ze wspaniałą hojnością arcydzieł — tajemnicza, potrącana przez wszystkich. Ponieważ wyszedłem rano po nieprzespanej nocy, po południu rodzice radzili mi, abym się trochę położył i starał się zasnąć. Na to, by zasnąć, nie potrzeba dużo refleksji; bardzo natomiast zbawienne jest ku temu przyzwyczajenie, a nawet brak refleksji. Otóż w owych godzinach nie dostawało<sup>234</sup> mi obu tych rzeczy. Przed zaśnięciem myślałem tak długo, że nie zdołam zasnąć, iż nawet kiedym zasnął, zostawało mi trochę myśli. Było to jedynie wątle światelko w zupełnej niemal ciemności, ale wystarczało, aby rzucić na mój sen — niby jakiś odbłask

<sup>232</sup>umbrelka — parasolka. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>klauzura (z łac.: zamknięcie) — zamknięta część domu zakonnego lub klasztoru; także: przepisy zakonne zakazujące kontaktowania się ze światem zewnętrznym. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>nie dostawać (daw.) — nie wystarczać, brakować. [przypis edytorski]

myśl, że nie zdołam zasnąć, a potem — odbłask tego odbłasku — myśl, że to we śnie wydawało mi się, iż nie śpię; potem — jako nowe odbicie — przebudzenie... do nowego snu, w którym chciałem opowiedzieć przyjaciółom (właśnie weszli do mego pokoju), że przed chwilą, śpiąc, myślałem, iż nie śpię. Cienie te ledwie były do rozpoznania; trzeba by wielkiej i bardzo czczej subtelności percepcji, aby je pochwycić. Podobnie później w Wenecji, dobrze po zachodzie słońca, kiedy się zdaje, że już jest zupełna noc, widziałem — dzięki niewidzialnemu wszakże echu ostatniej nuty światła, bez końca trzymanej na kanałach jak gdyby mocą jakiegoś optycznego pedału — odbicia pałaców rozpościerające się jak gdyby na wieki czarniejszym aksamitem na wieczornej szarości wód.

Jednym z moich sennych marzeń była synteza tego, co moja wyobraźnia często się sobie starała wyobrazić na jawie: pewien krajobraz morski i jego średniowieczną przeszłość. Widziałem we śnie gotyckie miasto pośród morza o falach stężących jak na witrażu. Odnoga morza dzieliła miasto na dwoje; zielona woda rozciągała się u moich stóp; woda ta opływała na przeciwległym brzegu wschodni kościół, dalej domy istniejące jeszcze w XIV wieku, tak że iść ku nim znaczyłoby cofać się w głąb wieków. Ten sen, w którym natura wyuczyła się sztuki, gdzie morze stało się gotyckie, ten sen, w którym pragnąłem dotknąć niemożliwości i miałem uczucie, że to czynię, zdawał mi się czymś, com już śnił często. Że jednak właściwością marzeń sennych jest to, że się mnożą w przeszłości i że, mimo iż nowe, wydają się znane, sądziłem, że się omylił. Spostrzegłem, przeciwnie, że w istocie często miewałem ten sen.

Nawet owe tak charakterystyczne pomniejszenia objawiały się w moim śnie, ale w sposób symboliczny: nie mogłem w ciemności rozpoznać twarzy przyjaciół, bo śni się z zamkniętymi oczami; rozprawiając przez sen sam z sobą bez końca, z chwilą gdym chciałem przemówić do przyjaciół, czułem, iż dźwięk zamiera mi w gardle, bo nie mówi się wyraźnie we śnie; chciałem podejść do nich i nie mogłem ruszyć nogami, bo również nie chodzi się we śnie; i nagle wstyd mi było pokazać się im, bo śni się bez ubrania. Tak iż postać snu, jaką stwarzał sam mój sen — ośleple oczy, zawarte usta, bezwładne nogi, nagie ciało — przypominała owe wielkie alegoryczne figury, które dał mi niegdyś Swann, a w których Giotto<sup>235</sup> wyobraził Zawiesz z wężem w ustach.

Saint-Loup przyjechał do Paryża tylko na kilka godzin. Tłumacząc się, że nie miał sposobności wspomnieć o mnie kuzynce, równocześnie powiadał, zdradzając się naiwnie:

— Oriana jest bardzo dziwna, to już nie moja dawna Oriana, odmieniono mi ją. Ręczę ci, nie warto, żebyś o niej myślał. Czynisz jej o wiele za dużo zaszczytu. Chcesz, przedstawię cię mojej kuzynce Poitiers? — dodał, nie zdając sobie sprawy, że to by mi nie sprawiło żadnej przyjemności. — Oto młoda kobieta inteligentna i która by ci się spodobała! Wyszła za mego kuzyna, księcia de Poitiers; dobry chłopiec, ale trochę za wielki prostaczek jak dla niej. Mówiłem z nią o tobie. Prosiła, żeby cię przyprowadzić. Dużo ładniejsza od Oriany, i młodsza. To jest indywidualność, wiesz: ef-ef. (Były to wyrażenia nowe, tym żarliwiej przyswojone przez Roberta, oznaczające, że ktoś ma subtelną naturę). Nie powiem ci — dodał — aby ona była dreyfusistka, trzeba się ostatecznie liczyć z jej środowiskiem, ale bądź co bądź mówi: „Gdyby był niewinny, cóż za okropność, że go trzymają na Diabłej Wyspie”. Rozumiesz, prawda? Przy tym to osoba, która bardzo wiele robi dla swoich dawnych nauczycielek; zabroniła je wpuszczać kuchennymi schodami. Zapewniam cię, to ktoś bardzo, bardzo. W gruncie, Oriana nie lubi jej, bo czuje, że tamta jest inteligentniejsza.

Mimo że pochłonięta współczuciem, jakie w niej budził lokaj Guermantów — który nie mógł odwiedzić narzeczonej, nawet gdy księżnej nie było w domu, bo natychmiast zaraportowałby to odzwierny — Franciszka ubolewała, że jej nie było w domu w chwili wizyty Roberta; ale bo teraz ona sama chodziła z wizytami. Wychodziła niemylnie w dni, gdym jej potrzebował; a zawsze po to, aby odwiedzić brata, siostrzenicę, zwłaszcza

<sup>235</sup> Giotto di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech; autor kilku cykli fresków w kaplicy Scrovegnich w Padwie, między innymi alegorii siedmiu cnót i siedmiu grzechów głównych, w tym Zawiesz, przedstawionej jako kobieta, z której ust wychodzi wąż kłusujący ją w twarz. [przypis edytorski]

cza zaś własną córkę, przybyłą niedawno do Paryża. Już sam rodzinny charakter tych wizyt, pozbawiających mnie usług Franciszki, pomnażał moją irytację, bo przewidywałem, że każda wizyta będzie dla niej czymś, z czego nie można się zwolnić, wedle zasad ustalonych w Saint-André-des-Champs. Toteż zawsze słuchałem jej wymówek z bardzo niesprawiedliwym złym humorem, którego miarę przepełniał sposób, w jaki Franciszka mówiła: „Zaszłam do brata, wpadłam »po drodze« uściskać siostrzenicę” (albo: „moją siostrzenicę rzeźniczkę”). Co się tyczy córki, Franciszka wolałaby ją wyprawić z powrotem do Combray. Ale ta świeża paryżanka, posługując się jak elegantka skrótami, ale gminnymi, mówiła, że tydzień spędzony w Combray dłużyłby się jej, gdyby nie miała co dzień bodaj swojego „Intran”<sup>236</sup>. Tym mniej miała ochotę jechać do siostry Franciszki, mieszkającej w górzystej okolicy, bo góry, powiadała córka Franciszki, dając słowu „interesujący” nowy i żalony sens — nie są zbyt interesujące. Nie mogła się zdecydować na powrót do Meseglise, gdzie „ludzie są takie głupie”, gdzie na targu kumoszki doszukiwałyby się jakiegoś pokrewieństwa, powiadając: „Popatrz no, czy to nie córka nieboszczyka Bazireau?”. Wolałaby raczej umrzeć, niż tam wracać „teraz, kiedy zasmakowała paryskiego życia”. Tradycjonalistka Franciszka uśmiechała się dość życzliwie do ducha nowatorstwa wcielonego w świeżej paryżance, kiedy ta mówiła: „No i cóż, matka, jeżeli nie będziesz miała wychodni, pchnij mi po prostu *pneu*”.

Znów zrobiło się zimniej. „Wychodzić? po co? żeby się zaziębić?” — mówiła Franciszka, która wolała siedzieć w domu przez tydzień, na który jej córka, brat oraz siostrzenica-rzeźniczka pojechali do Combray. Zresztą Franciszka — ostatnia sekciarka, w której przetrwały mętnie nauki cici Leonii z zakresu fizyki — dodawała, mówiąc o niezwykłym jak na tę porę czasie: „To jeszcze Pan Bóg się nie wygniewał do reszty”. Odpowiadałem na jej lamente jedynie leniwym uśmiechem, tym obojętniejszy na te przepowiednie, że dla mnie miało być ładnie na wszelki sposób: już widziałem ranne słońce błyszczące na wzgórzu Fiezole, grzałem się w jego promieniach; siła ich kazała mi z uśmiechem otwierać i przysmykać powieki, wypełniające się niby alabastrowe lampki nocne różowym blaskiem. To nie tylko dzwony wracały z Italii, Italia wróciła z nimi. Moim wiernym ręką nie zbraknie kwiatów, aby uczcić rocznicę podróży, jaką miałem podjąć niegdyś; bo od czasu gdy w Paryżu zrobiło się zimno — tak jak w owym roku, przed Wielkanocą, w chwili naszych przygotowań do wyjazdu — w płynnym i mroźnym powietrzu kąpiącym kasztany i platany na bulwarze, drzewo na dziedzińcu w naszym domu rozchyliło już liście, niby w naczyniu pełnym czystej wody narcyzy, żonkile, anemony z Ponte Vecchio<sup>237</sup>.

Ojciec powiedział nam, że wie już przez A. J., dokąd udaje się pan de Norpois, kiedy się go spotyka w naszym domu.

— Idzie do pani de Villeparisis; on z nią jest bardzo blisko, nic o tym nie wiedziałem. Zdaje się, że to przemiła osoba, niezwykła kobieta. Powinien byś jej złożyć wizytę — rzekł ojciec do mnie. — Zresztą Norpois zdziwił mnie bardzo, mówiąc o panu de Guermantes jak o człowieku bardzo dystyngowanym; zawsze go miałem za prostaka. Zdaje się, że on wie bardzo dużo, że ma wiele smaku, jest tylko bardzo pyszny ze swego nazwiska i ze swoich parantel. Ale zresztą (powiada Norpois) on ma olbrzymią sytuację, nie tylko tutaj, ale w całej Europie. Zdaje się, że cesarz austriacki i cesarz rosyjski traktują go całkiem jak przyjaciela. Stary Norpois powiedział mi, że pani de Villeparisis bardzo cię lubi i że poznałbyś w jej salonie interesujących ludzi. Bardzo mi cię chwalił. Spotkasz go u pani de Villeparisis: mógłby ci dać dobre rady, nawet choćbyś miał zostać literatem. Bo ja widzę, że z ciebie nie będzie nic innego. I to może być kariera; nie tego bym pragnął dla ciebie, ale staniesz się niebawem dorosłym mężczyzną, nie zawsze będziemy przy tobie, nie możemy ci bronić iść za swoim powołaniem.

Gdybym bodaj zdołał zacząć pisać! Ale jakiegokolwiek były okoliczności, w których chwyciłem się tego projektu (tak samo, niestety, jak postanowień nieużywania alkoholu, wczesnego spania, dbania o zdrowie), choćbym to czynił zapalczywie, metodycznie, z upojeniem, pozbawiając się spaceru, odkładając go i chowając go sobie jako nagrodę, korzystając z godziny dobrego stanu zdrowia, spożytkowując przymusową bezczynność

<sup>236</sup> „Intran” — popularny skrót dziennika „L’Intransigeant”. [przypis tłumacza]

<sup>237</sup> Ponte Vecchio (wł. Stary Most) — najstarszy z mostów Florencji, na rzece Arno. [przypis edytorski]

dnia choroby, rezultatem moich wysiłków była wciąż jedynie biała stronica nieskalana piórem, nieuchronna jak owa karta, którą wyciągamy niezmiennie w sztuce magicznej, w jaki bądź sposób stasowalibyśmy poprzednio talię. Byłem jedynie narzędziem nawyków niepracowania, niekładzenia się, niespania, które musiały się zrealizować na wspak wszystkiemu; jeżeli się im nie opierałem, jeżeli się zadowalałem następczym przez pierwszą lepszą okoliczność pretekstem, aby im zostawić swobodę działania, czyniłem to bez zbytnej szkody; i tak odpoczywałem kilka godzin pod koniec nocy, czytałem trochę, nie robiłem zbytnych ekscesów; ale jeżeli chciałem zadać gwałt tym nawykom, jeżeli się siliłem wcześniej położyć do łóżka, pić tylko wodę, pracować, rozdrażniało je to, posuwały się do ostateczności, wpędzały mnie w kompletną chorobę, musiałem zdwoić dawkę alkoholu, nie kładłem się do łóżka po dwa dni, nie mogłem już nawet czytać. Po czym postanawiałem sobie być na drugi raz mądrzejszym, to znaczy mniej rozsądnym, jak ofiara, która się pozwala okraść z obawy, aby w razie oporu nie zamordowano jej.

Wśród tego ojciec spotkał raz czy dwa pana de Guermantes; obecnie, odkąd mu pan de Norpois powiedział, że książę jest człowiekiem wybitnym, zwracał więcej uwagi na jego słowa. Właśnie mówili w dziedzińcu o pani de Villeparisis.

— Powiedział, że to jego ciotka; wymawia „Viparisi”. Mówi, że jest nadzwyczaj inteligentna. Dodał nawet, że ona ma „*bureau d'esprit*”<sup>238</sup> — dodał ojciec, uderzony mglistością tego wyrażenia, które spotkał raz czy dwa w starych pamiętnikach, ale któremu nie umiał dać określonego sensu.

Matka miała dla ojca takie uwielbienie, iż widząc, iż ojciec nie jest obojętny na to, że pani de Villeparisis ma „*bureau d'esprit*”, uznała doniosłość tego faktu. Mimo iż od dawna wiedziała przez babkę, co warta jest margrabina, natychmiast nabrała o niej lepszego pojęcia. Babka, w tym czasie nieco cierpiąca, nie była zrazu zbyt przychylna wizycie, potem przestała się tym interesować. Od czasu jak mieszkaliśmy w nowym mieszkaniu, pani de Villeparisis zapraszała ją kilka razy; za każdym razem babka odpowiadała, że nie wychodzi obecnie z domu. Uderzył nas nowy i dość niezrozumiały dla nas obyczaj babki: nie zaklejała teraz żadnego listu, troskę o to zostawiając Franciszce. Co do mnie, nie dość jasno wyobrażając sobie to „*bureau d'esprit*”, nie byłbym bardzo zdziwiony, zastając starą damę z Balbec przy „biurku”, co też w istocie się zdarzyło.

Ojciec chciał ponadto upewnić się, czy poparcie ambasadora zapewni mu dużo głosów w Instytucie, gdzie zamierzał postawić swoją kandydaturę na członka-korespondenta. Prawdę rzekłszy, nie ośmielając się wątpić o poparciu pana de Norpois, nie był go jednakże całkiem pewny. Myślał, że to są plotki, kiedy mu w ministerstwie mówiono, że pan de Norpois pragnie w nim sam jeden reprezentować Instytut i że będzie na wszelkie możliwe sposoby przeszkadzał wyborowi ojca, bardzo mu zresztą nie na rękę w tej chwili, kiedy popiera inny wybór. Uderzyło natomiast ojca, kiedy pan Leroy-Beaulieu<sup>239</sup> poradził mu zgłosić kandydaturę i rozważał jej widoki, że znakomity ekonomista nie wymienił pana de Norpois pośród kolegów, na których może liczyć w tej sprawie. Ojciec nie śmiał zapytać eks-ambasadora wprost, ale miał nadzieję, że ja wrócę od pani de Villeparisis z jego wyborem w kieszeni. Wizyta ta była nieuchronna. Poparcie pana de Norpois, zdolne w istocie zapewnić ojcu dwie trzecie Akademii, zdawało się zresztą tym prawdopodobniejsze, ile że uczynność ambasadora była przysłowiowa; nawet ci, co z nim najmniej sympatyzowali, uznawali, że nikt bardziej nie lubi oddać przysługi. A z drugiej strony w ministerstwie przychylność jego dla mojego ojca była o wiele wyraźniejsza niż w stosunku do jakiegokolwiek innego urzędnika.

Ojciec wspominał jeszcze o innym spotkaniu, ale to spotkanie wywołało jego zdumienie, a potem oburzenie. Minął na ulicy panią Sazerat; stosunkowa niezamożność tej damy uszczupliła jej życie paryskie do rzadkich pobyków u przyjaciółki. Towarzystwo pani de Sazerat nudziło ojca, tak że mama musiała raz do roku mówić mu słodkim i błagalnym głosem: „Mój drogi, muszę raz zaprosić panią de Sazerat; nie będzie siedziała długo”; a nawet: „Słuchaj, mam cię prosić o wielką ofiarę, zjźdź na chwilę do pani Sazerat. Wiesz, że nie lubię cię męczyć, ale to byłoby tak grzecznie z twojej strony”. Ojciec śmiał się, gniewał się trochę i odrabiał tę wizytę. Mimo zatem iż nie przepadł za panią

<sup>238</sup>*bureau d'esprit* (fr.; dosł.: gabinet umysłu, ducha) — salon, w którym rozmawia się o sztuce, literaturze, nauce; innym znaczeniem słowa *bureau* jest biurko, rodzaj mebla. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>*Leroy-Beaulieu, Pierre Paul* (1843–1916) — francuski ekonomista. [przypis edytorski]

Sazerat, spotkawszy ją, podszedł do niej z przyjaznym ukłonem; ale ku jego zdumieniu pani Sazerat poprzestała na lodowatym skinieniu głową, jak gdyby wymuszonym przez grzeczność wobec kogoś, kto się dopuścił brzydkiego uczynku lub kto zmuszony jest obecnie żyć na drugiej półkuli. Ojciec wrócił zirytowany, zdumiony. Nazajutrz matka spotkała panią Sazerat w jakimś salonie; pani Sazerat nie podała jej ręki i uśmiechnęła się do niej blado i smutno, jak do osoby, z którą bawiliśmy się w dzieciństwie, ale z którą zerwaliśmy od tego czasu wszelkie stosunki, ponieważ prowadzi gorszące życie albo wyszła za mąż za kryminalistę lub, co jeszcze gorzej, za rozwodnika. Otóż dotąd rodzice moi zawsze odnosili się do pani Sazerat z głębokim szacunkiem i cieszyli się wzajemnym szacunkiem z jej strony. Ale (o czym matka nie wiedziała) pani Sazerat, jedyny egzemplarz tego gatunku w Combray, była dreyfusistką. Ojciec, przyjaciel pana Méline<sup>240</sup>, był przeświadczony o winie Dreyfusa. Odprawił — i to bardzo cierpko — z niczym swoich kolegów, gdy go prosili o podpis na adresie<sup>241</sup> żądającym rewizji procesu. Nie mówił do mnie przez tydzień, kiedy się dowiedział, że ja mam inną orientację. Opinie ojca były znane. Uważano go niemal za nacjonalistę. Co się tyczy babki, która sama jedna w naszej rodzinie powinna by — zdawało się — płonąć szlachetnym wątpieniem, ta, ilekroć ktoś wspomniał o możebnej niewinności Dreyfusa, potrząsała głową ruchem (znaczenia tego ruchu nie rozumieliśmy wówczas) podobnym do gestu osoby, której zakłóca się poważniejsze myśli. Matka, rozdarta między swoją miłość do męża a nadzieję, że ja będę inteligentny, zachowywała brak decyzji wyrażający się milczeniem. Dziadek wreszcie, uwielbiający armię (mimo że obowiązki gwardzisty narodowego były zmorą jego męskich lat) niezdolny był ujrzeć w Combray pułku defilującego przed furcą, aby nie odkryć głowy, kiedy przejeżdżał pułkownik, a za nim sztandar. Wszystko to wystarczało, aby pani Sazerat, znająca do głębi życie ojca i dziadka przeżyte pod znakiem bezinteresowności i honoru, uważała ich obu za podpory nieprawości. Przebacza się zbrodnie indywidualne, ale nie udział w zbrodni zbiorowej. Z chwilą gdy się pani Sazerat dowiedziała, że ojciec jest antydreyfusistą, rzuciła między nim a sobą całe łądy i wieki. Co tłumaczy, że na taką odległość w czasie i przestrzeni ukłon jej wydał się ojcu niedostrzegalny, jej zaś nie przyszło na myśl poprzec ukłonu uściskiem dłoni ani słowami niezdolnymi przebyć światów, które ich dzieliły.

<sup>240</sup> *Méline, Jules* (1838–1925) — francuski polityk, premier Francji (1896–1898). [przypis edytorski]

<sup>241</sup> *adres* (daw.) — pismo zbiorowe wystosowane do osoby wybitnej lub zajmującej wysokie stanowisko. [przypis edytorski]

## CZĘŚĆ PIERWSZA, TOM DRUGI

Wybierając się do Paryża, Saint-Loup obiecał zaprowadzić mnie do pani de Villeparisis, gdzie, mimo iż nie zdradzając tego, miałem nadzieję spotkać panią de Guermantes. Zaprosił mnie na śniadanie ze swoją kochanką, którą odprowadzilibyśmy później do teatru na próbę. Mieliśmy się wybrać po nią rano w okolicę Paryża, gdzie mieszkała.

Prosiłem Roberta, żeby zjeść śniadanie w restauracji (w życiu złotej młodzieży puszczającej pieniądze restauracja gra rolę równie ważną jak skrzynie z tkaninami w arabskich powieściach), gdzie Aimé, jak mi to oznajmił, miał pełnić obowiązki *maitre d'hôtel*<sup>242</sup> w oczekiwaniu sezonu w Balbec. Dla mnie, co marzyłem o tylu podróżach, a robiłem ich tak mało, wielki urok miało spotkanie człowieka, który stanowił częstkę już nie tylko moich wspomnień z Balbec, ale samego Balbec, który jeździł tam co rok, który, kiedy niedomaganie lub wykłady zatrzymywały mnie w Paryżu, oglądał mimo to w ciągu długich schyłków lipcowych popołudni, zanim goście zaczęły się schodzić na obiad, zachodzące i tonące w morzu słońce; patrzył na nie przez szklane tafle wielkiej jadalni, poza którymi, w porze gdy słońce gasło, nieruchome skrzydła dalekich i błękitnych statków robiły wrażenie egzotycznych motyli nocnych w witrynie. Kelner ten, sam namagnesowany przez swój kontakt z potężnym magnesem Balbec, stał się z kolei dla mnie magnesem. Spodziewałem się przez rozmowę z nim znaleźć się już niejako w styczności z Balbec, zakosztować na miejscu nieco czaru podróży.

Wyszedłem rano z domu, gdzie zostawiłem Franciszkę biadającą, ponieważ lokaj księżnej znowuż poprzedniego dnia nie mógł odwiedzić narzeczonej. Franciszka zastała go we łzach; o mało nie spoliczkował odźwiernego, ale się opanował, bo zależało mu na miejscu.

Zanim się spotkałem z Robertem, który miał mnie oczekiwać u siebie przed bramą, natknąłem się na pana Legrandin, którego straciliśmy z oczu od czasu Combray; mocno już szpakowaty, zachował w rysach coś młodego i serdecznego. Zatrzymał się:

— Ha, ha! — rzekł — widzę, że z pana cały elegant. W tużurku<sup>243</sup>! Ten tużurek to liberia, z którą moja niepodległość nie umiałaby się pogodzić. Prawda, że z pana teraz człowiek światowy, chodzi pan z wizytami. Na to, aby pomarzyć, jak ja to czynię, nad jakimś wpół zniszczałym grobem, moja marynarka i mój fontaż wystarczą. Wie pan, jak cenię piękno pańskiej duszy; pojmuję pan, jak musi mnie boleć to, że pan idzie się jej zapierać między niewiernymi. Mogąc wytrzymać bodaj chwilę w dusznej atmosferze saloonów — którą nie umiałbym oddychać — ściga pan na swoją przyszłość klątwę Proroka. Zgaduję, widzę: bywa pan u ludzi czczych, u posiadaczy zamków i pałaców; oto klątwa dzisiejszej burżuazji. Och, ta arystokracja! Terror popełnił wielki błąd, że im wszystkim nie zdjął głów z karku. Wszystko lajdaki lub kretyni. Ale cóż, moje biedne dziecko, skoro to cię bawi! Podczas gdy ty spieszysz na jakiś *five o'clock*<sup>244</sup>, twój stary przyjaciel będzie szczęśliwszy od ciebie; włócząc się samotnie po zaułkach miasta, będzie oglądał różowy księżyc na fioletowym niebie. To fakt, że ja na wpół tylko żyję na tej ziemi, gdzie czuję się wygnanym; trzeba całej mocy praw ciężenia, aby mnie na niej zatrzymać, abym się nie wymknął w inną sferę. Jestem z innej planety. Bywaj; nie bierz pan za złe staroświeckiej szczeroci wieśniaka znad Vivonne, który zachował prostotę wieśniaczą. Aby ci dowieść mojego szacunku, przysłę ci swoją ostatnią powieść. Ale to ci się nie będzie podobało; to nie dosyć zepsute, nie dosyć *fin de siecle*<sup>245</sup> dla ciebie; za szczerze, za uczciwie; tobie trzeba Bergotte'a, przyznales to sam, trzeba zapaszku zgnilizny na zblazowane podniebienia smakoszów. Muszą mnie uważać w pańskim kółku za weterana; popełniam ten błąd, że wkładam serce w to, co piszę, to już nie w modzie; przy tym życie ludu nie jest dość dystyngowane, aby mogło interesować wasze snobinetki. Do widzenia; staraj się wspomnieć od czasu do czasu słowa Chrystusa: „Czyń tak, a będziesz żył”. Bywaj, przyjacielu.

<sup>242</sup>*maitre d'hôtel* (fr.) — szef służby hotelowej. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>*tużurek* (z fr.) — surdut codziennego użytku, popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>*five o'clock* (ang. dosł.: : godzina piąta) — spotkanie towarzyskie o piątej po południu, połączone z piciem herbaty; podwieczorek. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>*fin de siecle* (fr.) — koniec wieku; w historii sztuki i kultury europejskiej: ostatnie dziesięciolecie XIX w., cechujące się charakterystycznym poczuciem schyłkowości (dekadentyzmem), melancholii i katastrofizmu. [przypis edytorski]

Pożegnałem Legrandina bez zbytnej urazy. Pewne wspomnienia są niby wspólni przyjaciele, umieją nas godzić. Drewniany mostek wśród pól usianych jaskrami, grzebiących feudalne ruiny, łączył Legrandina i mnie niby dwa brzegi Vivonne.

Opuściliśmy Paryż, gdzie mimo zaczynającej się wiosny drzewa na bulwarach ledwie miały pierwsze liście; kiedy podmiejska kolej przeniosła mnie wraz z Robertem do pobliskiej wioski, gdzie mieszkała jego kochanka, z zachwytem ujrzałem ogródki strojne olbrzymimi białymi ołtarzami kwitnących drzew owocowych. Było to jak gdyby jakieś osobliwe, poetyczne, ulotne i lokalne święto, na które przyjeżdża się z bardzo daleka o stałych porach: ale to święto było dziełem natury. Kwiaty wiśni, tworząc niby białą pochwę, były tak ściśle przylepione do gałęzi, że z daleka, między drzewami zaledwie mającymi coś kwiatów i liści, zdawały się, w ów słoneczny dzień jeszcze tak zimny, niby śnieg, który stopniał gdzie indziej, a został jeszcze na drzewach. Ale wielkie grusze spowijały każdy dom, każdy skromny dziedziniec szerszą, jednolitszą, świetniejszą białą, tak jakby wszystkie domy, wszystkie zagrody tej wioski miały przystąpić tego samego dnia do pierwszej komunii.

Te sioła<sup>246</sup> w okolicach Paryża zachowują jeszcze u swoich wrót parki z XVII i XVIII wieku, kosztowne kaprysy finansistów i faworyt. Ogrodnik zużytkował jeden taki park, położony poniżej drogi, na szkółkę drzew owocowych (a może po prostu zachował rysunek olbrzymiego sadu z owych czasów). Posadzone w szachownice, mniej gęsto, grusze te, późniejsze od innych, tworzyły — podzielone niskimi murami — wielkie kwadraty białych kwiatów, z każdej strony odmiennie cieniowanych światłem, tak że wszystkie te powietrzne pokoje bez dachu robiły wrażenie salonów Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie<sup>247</sup>; przywodziły także na myśl przegrody rezerwuaru lub jakichś partii morza, które człowiek dzieli dla połowu lub hodowli ostryg, kiedy — zależnie od położenia — widziało się światło igrające na szpalerach niby na wodach wiosennych, rozpryskujące tu i ówdzie, migocącą pośród rzadkich i napelnionych lazurem sztachet — gałęzi — białą pianę rozslonecznionego i musującego kwecia.

Była to dawna wioska, ze swoim starym merostwem, ogorzałym i złocistym, przed którym, niby słupy szczęścia powiewające chorągiewkami, stały trzy wielkie grusze, dwornie wystrojone w biały atlas niby na świeckie i lokalne święto.

Nigdy Robert nie mówił czulej o swojej kochance niż podczas tej drogi. Ona jedna wypełniała jego serce; kariera wojskowa, wielki świat, rodzina, wszystko to nie było mu zapewne obojętne, ale nie liczyło się za nic wobec najmniejszego drobiazgu tyżącego jego kochanki. Była to jedyna rzecz mająca dlań urok; nieskończenie więcej uroku niż wszyscy Guermantowie i wszyscy królowie ziemi. Nie wiem, czy on to sobie mówił jasno, że ona jest istotą wyższą nad wszystko, ale to pewne, że cenił tylko to, dbał tylko o to, co się jej tyczyło. Przez nią był zdolny cierpieć, być szczęśliwym, może zabić. Naprawdę interesujące, pasjonujące było dlań tylko to, czego sobie życzyła i co robiła jego kochanka; tylko to, co się działo na wąskiej przestrzeni jej twarzy i pod jej uświęconym czołem, czytelne co najwyżej w ulotnym wyrazie. Saint-Loup, tak pełen honoru we wszystkim innym, rozważał perspektywę świetnego małżeństwa jedynie pod tym kątem, żeby móc nadal utrzymywać swoją kochankę, zachować ją. Gdyby się spytać, na ile on ją szacuje, sądzę, że niepodobna by sobie wyobrazić ceny dość wysokiej. Jeżeli się z nią nie żenił, to dlatego, że praktyczny zmysł mówił mu, iż z chwilą, kiedy by się już niczego nie spodziewała od niego, opuściłaby go, a przynajmniej żyłaby na własną rękę, i że trzeba ją trzymać nadzieją jutra. Bo Saint-Loup przypuszczał, że ona go może nie kocha. Bez wątpienia, ogólne uczucie zwane miłością musiało — jak zawsze dzieje się u mężczyzn — skłaniać go do wierzenia chwilami, że ona go kocha. Ale w praktyce czuł, że ta miłość nie zmienia faktu iż ona żyje z nim jedynie dla pieniędzy i że z chwilą kiedy się już nie będzie niczego spodziewała od niego, rzuci go (kochając go, ale będąc w tym ofiarą teorii swoich przyjaciół-literatów — myślał Saint-Loup).

<sup>246</sup>sioła (daw.) — wieś. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>Pałacu Słońca, takiego, jaki można by odnaleźć kędyś na Krecie — na pocz. XX w. Arthur Evans odkrył w Knossos na Krecie ruiny wspaniałej budowli nieznannej wcześniej starożytnej cywilizacji, które nazwał pałacem Minosa, mitycznego króla Krety; żona Minosa, Pazyfae, była córką Heliosa, boga słońca. [przypis edytorski]

— Zrobię jej dziś, jeżeli będzie miła — rzekł Robert — prezent, który ją ucieszy. Naszyjnik, który widział u Boucheron<sup>248</sup>. Trzydzieści tysięcy franków: w tej chwili to trochę ciężko dla mnie. Ale pomyśl, to biedactwo niewiele ma radości w życiu. Ależ będzie kontenta! Wspominała mi o tym, mówiła, że zna kogoś, kto by jej może dał ten naszyjnik. Nie sądzę, aby to była prawda; ale na wszelki wypadek prosiłem Boucheron, który jest nadwornym jubilerem mojej rodziny, aby mi go zarezerwował. Szalenie się cieszę, że ty ją poznasz; nie jest szczególnie piękna, wiesz (widziałem, że Robert myśli wręcz przeciwnie i że mówi tak jedynie po to, aby zwiększyć mój podziw); jest zwłaszcza cudownie inteligentna; przy tobie nie będzie może śmiała dużo mówić, ale cieszę się z góry na to, co mi powie później o tobie; wiesz, ona mówi rzeczy, które można zgłębiać bez końca, ma doprawdy coś pytyjskiego<sup>249</sup>.

Aby dotrzeć do domu, gdzie mieszkała, przechodziliśmy koło małych ogródków; nie mogłem się wstrzymać, aby nie przystawać, bo tonęły w kwieciu wiśni i gruszy; puste z pewnością i niezamieszkałe wczoraj jeszcze, niby niewynajęta posiadłość, nagle zaludniły się i wypiękniały dzięki tym nowo przybyłym, których piękne białe suknie widniały poprzez sztachety.

— Słuchaj, ja widzę, że ty chcesz podziwiać to wszystko, poetyczna istoto — rzekł Robert — zaczekaj na mnie tutaj, moja mała mieszka tuż, pójdę po nią.

Czekając, przechadzałem się trochę między skromnymi ogródkami. Kiedym podniósł głowę, widziałem tu i ówdzie w oknach młode dziewczęta; równie młode pędy bzów, gibkie i lekkie w swoich świeżych sukienkach lila, zwisające wśród liści, kołysały się na wietrze, nie troszcząc się o przechodnia, wznoszącego oczy aż do pięterka ich zieleni. Poznawałem w nich fioletowe kłębki, narządzone u wejścia do parku pana Swanna — skoro się minie białą furtkę, w ciepłe wiosenne popołudnie — do cudnego prowincjonalnego haftu. Skierowałem się ścieżką wiodącą ku łące. Zimny wiatr dął jak w Combray; mimo to z thustej, wilgotnej i wiejskiej ziemi, która mogłaby się znajdować nad brzegiem Vivonne, wykwitła — punktualna jak cała gromada jej towarzyszek — wielka biała grusza, potrząsająca z uśmiechem swoim kwieciami. Kwiaty te, zmierzwione wiatrem, ale wyglansowane i posrebrzone promieniami słońca, tworzyły niby firankę zmaterializowanego i dotykającego światła.

Naraz Saint-Loup zjawił się w towarzystwie kochanki: i oto w tej kobiecie, która była dla niego wszystką miłością, wszystkim możebnym urokiem życia, w tej kobiecie, której istność, tajemniczo zamknięta w ciele niby w świętym tabernakulum, stanowiła przedmiot bez ustanku jeszcze bogaczom wyobraźni mego przyjaciela, przedmiot, którego, czuł to — nigdy nie miał poznać, o który się wечно pytał siebie, czym ona jest sama w sobie, poza zasłoną spojrzeń i ciała, w tej kobiecie poznałem natychmiast „Rachele, kiedy Pan”, tę, co przed kilku laty — kobiety w tym świecie tak szybko zmieniają sytuację, o ile ją zmieniają! — mówiła do rajfurki<sup>250</sup>: „Zatem jutro wieczór, jeżeli pani będzie mnie potrzebowała dla kogoś, pośle pani po mnie”.

I kiedy „posłano po nią” w istocie i kiedy się znalazła sama w pokoju z owym „kims”, wiedziała tak dobrze, czego się żąda od niej, że zamknąwszy drzwi na klucz — przez ostrożność przezornej kobiety lub rytualnym gestem — zaczynała się rozbierać, tak jak się robi u doktora przystępującego do auskultacji<sup>251</sup>. Przerzywała tę czynność jedynie o tyle, o ile „ktoś”, nie lubiąc nagości, powiedział jej, że może zostać w koszuli; jak niektórzy lekarze, którzy, mając bardzo bystry słuch, a bojąc się, aby się chory nie zaziębił, przestają na słuchaniu oddechu i serca przez bieliznę. Całe życie, wszystkie myśli, cała przeszłość tej kobiety, wszyscy mężczyźni, do których mogła należeć, były dla mnie czymś tak obojętnym, że gdyby mi to opowiedziała, słuchałbym tylko przez grzeczność i ledwie bym słyszał; i oto czułem, że niepokój, cierpienie, miłość Roberta przyrosły do niej tak, że zrobiły z niej — z tego, co dla mnie było mechaniczną zabawką — przedmiot nieskoń-

<sup>248</sup>Boucheron — paryski sklep z luksusową biżuterią i zegarkami, zał. w 1858 przez Frédérica Boucheron (1830–1902). [przypis edytorski]

<sup>249</sup>pytyjski — taki jak u Pytii; *Pytia*: kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z niejasnych przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>auskultacja (med.) — osłuchiwanie; rodzaj badania lekarskiego polegającego na słuchaniu, zazwyczaj z pomocą specjalnej słuchawki, jak pracują narządy wewnętrzne (takie jak np. serce czy płuca). [przypis edytorski]



czonych cierpień, wręcz cenę istnienia. Widząc te dwa rozszczerzone czynniki (dlatego że znałem „Rachelę, kiedy Pan” z domu publicznego), pojmowałem, że wiele kobiet, dla których mężczyźni żyją, cierpią, zabijają się, mogą być same w sobie lub dla innych, tym, czym Rachela była dla mnie. Myśl, że ktoś może czuć bolesną ciekawość jej życia, zdumiewała mnie. Mógłbym opowiedzieć Robertowi wiele jej miłostek, które mi się zdawały czymś najobojętniejszym w świecie; a jakimż byłyby ciosem dla niego! I czegoż nie dał, aby się dowiedzieć o nich, i na próżno.

Pojmowałem, ile wyobraźnia ludzka może pomieścić w małym kawałku twarzy — jak u tej kobiety — jeżeli pierwsze jej poznanie nastąpiło w drodze wyobraźni; i na odwrót, na jak nędzne, pozbawione wszelkiej wartości i ceny składniki materialne może się rozłożyć to, co było celem tylu marzeń, jeżeli, przeciwnie, poznanie nastąpiło w drodze najtrywialniejszego faktu. Rozumiałem, że to, co mi się zdawało niewarte dwudziestu franków wówczas, gdy mi to ofiarowano za dwadzieścia franków w domu schadzek, gdzie ona była dla mnie jedynie kobietą chcącą zarobić dwadzieścia franków, że to może być warte więcej niż milion, niż rodzina, niż wszystkie dobra świata, jeżeli się zaczęło od wyrojenia w niej istoty nieznannej, niezwyklej, nieuchwytniej, nieujarzmionej. Bez wątplenia, i Robert, i ja, obaj widzieliśmy tę samą szczupłą twarz. Ale doszliśmy do niej dwiema przeciwnymi drogami, które nie zetkną się ze sobą nigdy, i nigdy nie ujrzymy tej samej jej strony. Tę twarz, z jej spojrzzeniami, uśmiechami, poruszeniami ust, ja poznałem z zewnątrz jako twarz byle jakiej kobiety, gotowej za dwadzieścia franków zrobić wszystko, co zechcę. Toteż spojrzzenia, uśmiechy, poruszenia ust wyrażały dla mnie jedynie akty ogólne, bez śladu czegoś indywidualnego, i nie byłbym ciekaw szukać w nich osoby. Ale to, co mnie poniekąd ofiarowano na wstępie, ta twarz gotowa do wszystkiego, było dla Roberta metą ostateczną, do której dążył poprzez ile nadziei, wątpliń, podejrzeń, marzeń! Dawał więcej niż milion, aby to posiadać, aby się nie dostało innym to, co mnie — jak każdemu — ofiarowano niegdyś za dwadzieścia franków. Że on tego nie dostał za tę cenę, mogło zależeć od przypadku chwili, chwili, w której ta, co zdawała się gotowa oddać, wymknie się, może mając schadzki, może z innego powodu, który każe się jej tego właśnie dnia opierać. Jeżeli ma do czynienia z naturą uczuciową, wówczas — nawet gdy tego nie spostrzeże, ale zwłaszcza gdy spostrzeże — zaczyna się straszliwa gra. Niezdolny strawić swego zawodu, wyrzec się tej kobiety, mężczyzna upędza się za nią, ona ucieka, tak że jeden uśmiech, którego nie śmiał się już spodziewać, kosztuje go tysiąc razy drożej, niżby powinno kosztować całkowite posiadanie. Jeżeli, łącząc naiwność z tchórzostwem wobec cierpienia, popełni ktoś to szaleństwo, aby uczynić z dziewczki niedostępne bóstwo, zdarza się nawet czasem w tym wypadku, że nie dostąpi nigdy tego posiadania, a nawet pierwszego pocałunku; nie śmie nawet już o niego prosić, aby nie zadać kłamstwa swoim zapewnieniom idealnej miłości. Cóż za cierpienie wówczas — umrzeć, nie dowiedziawszy się nigdy, czym mógł być pocałunek kobiety, którą się najbardziej kochało.

Saint-Loup zdołał szczęśliwie uzyskać wszystkie fawory Racheli. Z pewnością, gdyby wiedział teraz, że ofiarowywano je całemu światu za cenę jednego ludwika<sup>252</sup>, byłby z pewnością straszliwie cierpiał, ale i tak dałby milion, aby je zachować, wszystko bowiem, czego by się dowiedział, nie zdołałoby go sprowadzić — bo to jest ponad siły człowieka i może się zdarzyć jedynie mocą jakiegoś wielkiego naturalnego prawa — z drogi, na której się znalazł i skąd ta twarz była mu widzialna jedynie poprzez jego marzenia; stąd te spojrzzenia, te uśmiechy, te drgnienia ust były jedyną rewelacją<sup>253</sup> osoby, której chciałby poznać prawdziwą istotę i sam jeden posiadać jej pragnienia. Nieruchomość tej wąskiej twarzy, niby ćwiartki papieru poddanej kolosalnemu ciśnieniu dwóch atmosfer, zdawała mi się zrównoważona dwiema nieskończonościami, które schodziły się na niej, nie stykając się, bo ona je rozdzielała. I w istocie, patrząc na nią, każdy z nas dwu widział ją po innej stronie tajemnicy.

I nie „Rachela, kiedy Pan” wydawała mi się czymś drobnym; raczej czymś ogromnym wydawała mi się potęga ludzkiej wyobraźni, złudzenie, na jakim się opierają cierpienia miłości. Robert ujrzał, że jestem wzruszony. Odwróciłem oczy ku gruszom i wiśniom, aby myślał, że to ich piękność mnie wzrusza. I wzruszała mnie po trosze w ten sam sposób;

<sup>252</sup>ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>rewelacja — tu: objawienie, wyjawienie; odkrycie. [przypis edytorski]

objawiała mi również coś, co się nie tylko widzi oczami, ale czuje sercem. Kiedy widziałem te drzewa w ogrodzie i wziąłem je za cudzoziemskich bogów, czyż nie pomyliłem się jak Magdalena, kiedy — w innym ogrodzie, w dniu, którego rocznica miała niebawem nadejść — ujrzała postać ludzką i „myślała, że to ogrodnik”<sup>254</sup>? Stróże wspomnień złotego wieku, piastuny obietnicy, że rzeczywistość nie jest tym, co się mniema, że przepych poezji, że cudny blask niewinności mogą w niej błyszczeć i mogą się stać nagrodą, na którą będziemy się starali zasłużyć, wielkie białe istoty cudownie pochylone nad cieniem zapraszającym do odpoczynku, do rybołówstwa, do lektury — czyż to nie były raczej anioły?

Wymieniłem kilka słów z kochanką Roberta. Poszliśmy na przełaj przez wieś. Domy były niechlujne. Ale obok najędzniejszych, tych, co robiły wrażenie jakby spalonych deszczem siarki<sup>255</sup>, tajemniczy podróżny, zatrzymawszy się przez jeden dzień w przeklętym mieście, błyszczący anioł stał prosto, rozpościerając nad nim olśniewającą opiekę kwietnych skrzydeł niewinności: to była grusza.

Saint-Loup wysunął się ze mną trochę naprzód.

— Byłbym wolał czekać tu we dwójkę z tobą, wolałbym nawet zjeść śniadanie z tobą samym i żebyśmy zostali sami do chwili, kiedy będzie czas iść do ciotki. Ale dla mojej biednej małej to jest taka przyjemność i ona taka jest milusia dla mnie, że rozumiesz, nie mogłem jej tego odmówić. Zresztą ona ci się spodoba; to dusza literacka, krzak gorejący; i to takie zabawne być z nią na śniadaniu w restauracji, jest taka miła, taka prosta, zawsze kontenta ze wszystkiego.

Ale mam wrażenie, że właśnie tego rana, i prawdopodobnie jedyny raz, Robert wyzwolił się na chwilę od kobiety, którą — siłą tkliwości — stworzył sobie powoli, i że nagle, na pewien dystans od siebie, ujrzał inną Rachelę, duplikat tamtej, ale absolutnie różny i ludzko podobny do przeciętnej kokotki<sup>256</sup>. Opuściwszy piękny sad, mieliśmy wsiąść do pociągu, aby wracać do Paryża, kiedy idącą o kilka kroków przed nami Rachelę poznały i przywitały pospolite „pulki” — takie, jaką była ona — które, myśląc zrazu, że jest sama, zaczęły wołać: „O, Rachelu, siadaj z nami, Lucy i Zużu są w wagonie, jest właśnie miejsce, chodź, pójdziemy potem na *skating*”<sup>257</sup>. I już miały jej przedstawić dwóch subiektów<sup>258</sup>, swoich kochanków, którzy im towarzyszyli, kiedy pod wpływem zakłopotanej miny Racheli spojrzały ciekawie nieco dalej, spostrzegły nas i pożegnały ją, przepraszając. Rachelu odpowiedziała również pożegnaniem, trochę nieswojo, ale przyjaźnie. Były to dwie biedne podfruwajki, w kołnierzach z fałszywej wydry, wyglądające mniej więcej tak, jak Rachelu, kiedy Saint-Loup spotkał ją po raz pierwszy. Nie znał ich z widzenia ani z nazwiska; ale widząc ich wyraźną zażyłość z jego „małą”, pomyślał, że Rachelu miała może miejsce — może je ma jeszcze — w życiu przez niego niepodejrzewanym, bardzo różnym od tego, jakie on pędził; w życiu, w którym kobietę ma się za jednego ludwika, gdy on dawał Racheli więcej niż sto tysięcy rocznie. Nie tylko ujrzał przelotnie to życie, ale zarazem ujrzał w nim Rachelę całkiem inną od tej, którą znał, Rachelę podobną do dwóch małych „pulek”, Rachelę za dwadzieścia franków. W rezultacie Rachelu rozdziwiła się na chwilę dla niego; w pewnej odległości od swojej Racheli ujrzał Rachelę małą „pulkę”, Rachelę rzeczywistą, o ile przyjąć, że Rachelu-„pulka” była rzeczywistsza od tamtej. Przyszło mu wówczas może na myśl, że z tego piekła, w którym żył, z perspektywą i koniecznością bogatego małżeństwa, sprzedaży nazwiska, po to aby móc nadal dawać Racheli sto tysięcy franków rocznie, mógłby się może łatwo wyrwać i mieć wszystko od swojej kochanki, jak owi subiektci od tych kokotek, za byle co. Ale jak to zrobić? Nie zawiniła w niczym. Mniej obsypywana darami, byłaby mniej serdeczna, nie mówiłaby mu, nie pisała rzeczy, które go tak wzruszały i które cytował z pewną ostentacją swoim kolegom, podkreślając z naciskiem jej czułość, ale przemilczając, że ją utrzymuje bogato, a nawet że jej w ogóle daje cośkolwiek; że te fotografie z dedykacjami

<sup>254</sup>Magdalena (...) w innym ogrodzie (...) „myślała, że to ogrodnik” — w *Ewangelii wg Jana* płacząca przed grobem Maria Magdalena, nie wiedząc o zmartwychwstaniu Jezusa, początkowo uznała go za ogrodnika (J 20, 11–15). [przypis edytorski]

<sup>255</sup>spalonych deszczem siarki — tak jak biblijne miasta Sodom i Gomora, zniszczone deszczem ognia i siarki przez Boga za niegodziwość i złamanie prawa gościnności wobec podróźnych-aniołów. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>kokotka a. kokota — kobieta lekkich obyczajów; prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>skating (ang.) — łyżwiarstwo. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>subiekt (przest.) — sprzedawca, sklepikarz. [przypis edytorski]

i te czule telegramy reprezentują sto tysięcy franków zagęszczone do swojej najwięźlejszej i najszacowniejszej formy. Jeżeli Saint-Loup zatajał fakt, że te skąpe czułości Racheli są przez niego opłacane, fałszem byłoby — mimo iż symplicystyczne<sup>259</sup> rozumowanie robi to w stosunku do wszystkich płacących kochanków, w stosunku do tylu mężów — powiedzieć, że on to czyni przez miłość własną, przez próżność. Saint-Loup był na tyle inteligentny, aby pojąć, że wszystkie rozkosze próżności znalazłby łatwo i darmo w swoim świecie dzięki swemu nazwisku i urodzie i że, przeciwnie, właśnie jego stosunek z Rachelą wytrącił go po trosze ze „świata”, zdeprecjonował go na giełdzie towarzyskiej. Nie, ambicja uchodzenia za posiadacza gratis oznak czułości tej, którą się kocha, to po prostu uboczny produkt miłości, potrzeba wmówienia w siebie i w drugich wzajemności istoty tak bardzo ukochanej.

Rachela zbliżyła się do nas, pozwalając dwóm podfruwajkom wsiąść do ich przedziału; mimo to zarówno fałszywa wydra „pulek” i naburmuszona mina subiektów, jak imiona Lucy i Żużu, przedłużyły na moment istnienie nowej Racheli. Przez chwilę Robert wyobraził sobie plac Pigalle<sup>260</sup>, nieznanych przyjaciół, plugawe miłostki, naiwne rozrywki popołudniowe, spacerory lub zabawy, w owym Paryżu, gdzie usłonecznienie ulic, poczawszy od bulwaru Clichy, wydawało mu się nie to samo co słoneczna jasność, w której przechadzał się z kochanką; ale że musi być inne, bo miłość i zrosnięte z nią cierpienie mają, tak jak pijaństwo, moc różnicowania przedmiotów. Podejrzewał w samym Paryżu jakiś nieznaną Paryż; jego stosunek z Rachelą wydał mu się niby zwiedzanie dziwnego życia; o ile bowiem, będąc z nim, Rachela była trochę podobna do niego samego, przeżywała z nim przecież część swego realnego życia, ba, najcenniejszą dzięki szalonym sumom, jakie jej dawał; część życia, która budziła zazdrość jej przyjaciółek i miała jej kiedyś pozwolić osiąść na wsi lub pokusić się o wielką karierę teatralną po uciułaniu okrągłej sumki.

Robert byłby chciał spytać Racheli, kto to są te Lucy i Żużu; o czym byłyby z nią mówiły, gdyby wsiadła do ich przedziału, na czym byłyby razem spędziły dzień, zakończony może — jako szczyt zabawy, po rozkoszach *skatingu* — w „Taverne Olympia”<sup>261</sup>, gdyby mnie i Roberta nie było. Przez chwilę tajemnice tego lokalu, dotąd żałośnie nudne, obudziły jego ciekawość; cierpienie jego oraz słońce tego wiosennego dnia oświeciły ulicę Caumartin, dokąd — gdyby nie poznała Roberta — Rachela poszłaby może teraz, aby zarobić ludwika. Uczuł skurcz serca. Ale na co zadawać pytania, kiedy wiedział z góry, że odpowiedzią będzie proste milczenie albo kłamstwo, albo coś bardzo przykrego dla niego, co mu jednak niczego nie wyjaśni.

Konduktorzy zamykali drzwiczki. Wsiadliśmy do pierwszej klasy: cudowne perły Racheli znów przekonały Roberta, że to jest kobieta wielkiej ceny. Uściskał ją, przyjął ją z powrotem w serce, gdzie się jej przyjrzał, uwewnętrznionej, tak jak to zawsze robił dotąd — z wyjątkiem tej krótkiej chwili, gdy ją ujrzał na placu Pigalle z obrazu impresjonisty i pociąg ruszył.

To była zresztą prawda, że ona była „literacka”. Bez przerwy mówiła do mnie o książkach, o nowej sztuce, o tołstoizmie<sup>262</sup>; przerwała sobie jedynie, aby wyrzucić Robertowi, że pije za dużo wina.

— Och, gdybyś ty mógł żyć przez rok ze mną, zobaczyłbyś, dawałabym ci pić samą wodę i miewałbyś się o wiele lepiej.

— Doskonale, jedźmy gdzieś.

— Wiesz przecie, że ja mam dużo pracy (brała serio swój talent dramatyczny). Zresztą, co by powiedziała twoja rodzina?

I rozwiodła się przede mną na temat jego rodziny w zarzutach, które mi się wydawały nader słuszne i które Saint-Loup — oporny na punkcie szampana — całkowicie uznawał. Ja, który się tak obawiałem dla Roberta wina i który czułem dobry wpływ jego kochanki,

<sup>259</sup> *symplicystyczny* a. *symplicyfikujący* (z łac.) — nadmiernie uproszczający i spłycający. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *plac Pigalle* — plac w Paryżu; na przełomie XIX i XX w. plac i otaczające go ulice stały się dzielnicą pracowni malarskich i kawiarni literackich. [przypis edytorski]

<sup>261</sup> *Taverne Olympia* — popularny nocny lokal przy paryskiej sali music-hallowej Olympia. [przypis edytorski]

<sup>262</sup> *tołstoizm* — ruch społeczno-religijny powstały pod wpływem poglądów filozoficzno-religijnych Lwa Tołstoja (1828–1910), rosyjskiego prozaika, dramaturga i myśliciela, który głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury. [przypis edytorski]

byłem już gotów radzić mu, aby posłał w diabły rodzinę. Łzy nabiegły do oczu młodej kobiecie, kiedy niebacznie poruszył temat Dreyfusa.

— Biedny męczennik — rzekła, wstrzymując łkanie — oni go tam uśmiercą.

— Uspokój się, Zizi; wróci, będzie uniewinniony, prawda wyjdzie na wierzch.

— Do tego czasu on umrze! Ale bodaj jego dzieci będą nosiły nazwisko bez zmyzy. Myśl o tym, ile on musi cierpieć, zabija mnie po prostu! I czy pan sobie wyobrazi, matka Roberta, kobieta nabożna, powiada, że powinni go trzymać na Diablej Wyspie, nawet jeżeli jest niewinny. Czy to nie ohyda?

— Tak, to najściślejsza prawda; mówi tak — rzekł Robert. — To moja matka, nie mam prawa jej sądzić; ale to pewne, że ona nie ma serca takiego jak Zizi.

W rzeczywistości te śniadania, „takie milusie”, kończyły się zawsze nader burzliwie. Z chwilą bowiem gdy Saint-Loup znalazł się z kochanką w jakimś lokalu, wyobrażał sobie, że ona patrzy na wszystkich mężczyzn, robił się ponury, ona widziała jego zły humor, który może dla zabawy podsycala, ale którego, jeszcze prawdopodobniej, przez głupią ambicję, zraniona jego tonem, nie chciała ułagodzić; udawała, że nie spuszcza oczu z jakiegoś mężczyzny, zresztą nie zawsze dla czystej zabawki. W istocie niech tylko zdarzył się jakiś przystojny sąsiad w teatrze lub kawiarni lub nawet prosty dorożkarz, Robert, ostrzeżony natychmiast przez swoją zazdrość, spozstrzegał to wcześniej od Racheli; natychmiast widział w nim jednego z owych potworów, o których mówił mi w Balbec, co dla rozrywki deprawują i hańbią kobiety; błagał kochankę, aby nie patrzyła na tego osobnika i tym samym zwracał na niego jej uwagę. Otóż czasami Racheli znajdowała, że Robert ma wcale dobry gust w swoich podejrzeniach; przestawała go nawet drażnić, iżby się uspokoił, i wyprawiała go z jakimś zleceniem, aby zyskać czas na wymienienie kilku słów z nieznanym, często na umówienie schadzki, czasem nawet na zaspokojenie naprędce kaprysu.

Ledwieśmy weszli do restauracji, ujrzałem, że Robert jest chmurny. Bo też Saint-Loup zauważył natychmiast (co uszło naszej uwagi w Balbec), że na tle swoich pospolitych kolegów Aimé, ze swoją skromną dystynkcją, ma — bardzo mimo woli — coś romantycznego, co promieniuje przez pewną ilość lat z puszystych włosów i greckiego nosa, a co wyróżniało z ciżby innych służebników. Ci, prawie wszyscy niemłodzi, odznaczali się osobliwą brzydota mającą coś obłudnie księżego, coś z obleśnych spowiedników, częściej coś z dawnych komików, których czoła w kształcie głowy cukru spotyka się już tylko w pokątnie historycznym *foyer*<sup>263</sup> niemodnych teatryków, gdzie ich uwieczniono w rolach sługusów lub arcykapłanów. Restauracja ta, dzięki specjalnemu doborowi, a może dzięki systemowi dziedzicznej nominacji, przechowała te uroczyście typy niby kolegium augurów<sup>264</sup>. Na nieszczęście Aimé poznał nas, wskutek czego on przyjął od nas zamówienie, gdy orszak operetkowych arcykapłanów odpłynął ku innym stolikom. Aimé spytał mnie o zdrowie babki, ja spytałem go o żonę i dzieci. Odpowiedział ze wzruszeniem, bo miał kult życia rodzinnego. Robił wrażenie człowieka inteligentnego, energicznego, ale w granicach szacunku. Kochanka Roberta zaczęła mu się przyglądać z nadzwyczajną uwagą. Ale zapadłe oczy kelnera, którym lekka krótkowzroczność dawała wyraz skrytej głębi, nie zdradziły żadnego wrażenia w jego nieruchomej twarzy. W prowincjonalnym hotelu, gdzie Aimé służył wiele lat, zanim przybył do Balbec, ładny — teraz nieco poźółkły i zmęczony — zarys jego twarzy, którą przez tyle lat, niby sztych przedstawiający księcia Eugeniusza<sup>265</sup>, widziało się zawsze na tym samym miejscu w prawie zawsze pustej jadalni, nie musiał ściągać zbyt ciekawych spojrzeń. Długo tedy — zapewne z braku znawców — Aimé pozostał nieświadom artystycznych walorów swojej twarzy, mało zresztą skłonny do ściągnięcia na nią uwagi, bo był temperamentu chłodnego. Co najwyżej jakaś przejezdna paryżanka, zatrzymawszy się przypadkiem w mieście, podniosła na niego oczy, poprosiła go może, aby przyszedł pomóc jej przed odjazdem zapakować rzeczy i w przezroczyściej,

<sup>263</sup>*foyer* — pomieszczenie obok sali teatralnej, w którym w czasie przerw gromadzi się publiczność. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>*kolegium augurów* — w starożytnym Rzymie: kolegium wybieranych dożywotnio kapłanów zajmujących się odczytywaniem wróżb z lotu ptaków drapieżnych. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>*Eugeniusz Sabaudzki* (1663–1736) — książę Sabaudii (w pld.-wsch. Francji), wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

jednostajnej i głębokiej pustce tej egzystencji dobrego męża i prowincjonalnego sługi, zagrzebała sekret kaprysu bez jutra, którego nikt nie miał nigdy odkryć.

Mimo to Aimé musiał spostrzec wytrwałość, z jaką oczy młodej artystki spoczywały na nim. W każdym razie nie uszła ta wytrwałość uwagi Roberta, na którego twarzy widziałem gromadzący się rumieniec, nie ów żywy rumieniec, który go oblewał purpurą w chwili gwałtownego wzruszenia, ale słaby, rozproszony.

— Czy ten kelner jest bardzo zajmujący, Zizi? — spytał Racheli, oddalwszy Aimégo dość gwałtownie. — Można by przypuszczać, że ty zamierzasz robić jego portret.

— Zaczyna się, byłam tego pewna!

— Ale co się zaczyna, małeńka? Jeżeli nie mam racji, cofam wszystko, nic nie powiedziałem. Ale mam przecie prawo cię ostrzec przed tym famulusem<sup>266</sup>, którego znam z Balbec (inaczej kpilbym sobie z tego) i który jest jednym z największych łajdaków, jakich święta ziemia nosiła.

Zdawało się, że Rachela ustępuje Robertowi; zapuściła się ze mną w rozmowę literacką, do której i on się wmieszał. Nie nudziłem się z nią, bo знаła wybornie utwory, które podziwiałem i dzieliła mniej więcej moje sądy; że jednak słyszałem od pani de Villeparisis, iż ona nie ma talentu, nie przywiązywałem do tej kultury wielkiej wagi. Poruszała zręcznie tysiąc tematów i byłaby naprawdę miła, gdyby nie przejęła drażniącej gwary kapliczek i pracowni. Rozciągała zresztą tę gwarę na wszystko; przywykłszy na przykład mówić o obrazie (jeżeli był impresjonistyczny) albo o operze (jeżeli była wagnerowska): „Och, to silne”, jednego dnia, kiedy młody człowiek pocałował ją za ucho i, pogłaskany jej udanym dreszczem, robił skromnego, ona rzekła: „Owszem, jako wrażenie, uważam, że to było silne”. Ale zwłaszcza dziwiło mnie, że ona używa przy Robertcie jego wyrażen (których Robert nabył może od znajomych jej literatów), a Robert jej wyrażen przy niej; czynili to tak, jakby to był język obowiązujący, nie zdając sobie sprawy z ubóstwa oryginalności wspólnej wszystkim.

Jedząc, Rachela manipulowała bardzo niezdarnie rękami, tak iż można było wnosić, że i na scenie musi być dosyć niezręczna. Zwinność odnajdywała jedynie w miłości, przez tę wzruszającą prawiedzę kobiet, które tak kochają ciało mężczyzny, że od pierwszego razu zgadują, co sprawi największą przyjemność temu ciału, mimo iż tak różnemu od ich własnego.

Przestałem brać udział w rozmowie, kiedy zaczęto mówić o teatrze, bo na tym punkcie Rachela była zbyt zjadliwa. Podjęła co prawda, współczującym tonem, obronę Bermy przeciw Robertowi, co dowodziło, że ją często atakowała wobec niego. Rachela mówiła:

— Och, nie, nie! to jest niezwykła kobieta. Oczywiście to, co ona robi, nie wzrusza nas już; nie odpowiada zupełnie temu, czego dziś szukamy; ale trzeba ją brać w momencie, gdy się zjawia, zawdzięcza się jej wiele. Ona robiła rzeczy mocne, wiesz! A przy tym to taka dzielna kobieta, wielkie serce; nie kocha oczywiście tych rzeczy, które nas pasjonują, ale przy dosyć wyrazistej twarzy miała ładny gatunek inteligencji. (Palce niejednako towarzyszą wszystkim sądom estetycznym. Gdy chodzi o malarstwo, aby pokazać, że coś jest tego namalowane, szeroko machnięte, wystarczy wystawić wielki palec. Ale „ładny gatunek inteligencji” jest bardziej wymagający; trzeba mu dwóch palców, lub raczej dwóch paznokci, tak jakby się strzepywało kurz).

Ale poza tym jednym wyjątkiem kochanka Roberta mówiła o najbardziej znanych artystach tonem ironii i wyższości, który mnie drażnił, bo sądziłem — mylnie zresztą — że to ona do nich nie dorasta. Ona spostrzegła wybornie, że ja muszę ją uważać za miernotę, a że, przeciwnie, wysoko cenię tych, którymi ona gardzi. Ale nie uraziło jej to, bo w wielkim talencie nieuznanym jeszcze, jak u niej, choćby nawet był najpewniejszy samego siebie, istnieje pewna pokora: względy, jakich żądamy, dawkujemy nie wedle naszych darów, ale według zdobytej sytuacji. (W godzinę później miałem ujrzeć w teatrze Rachelę okazującą wiele szacunku tym samym artystom, o których wyrażała się tak ujemnie). Toteż chociaż moje milczenie nie mogło jej zostawić wątpliwości, nalegała mimo to, abyśmy zjedli obiad razem, zapewniając, że w niczym towarzystwie nie bawiła się tak dobrze jak w moim. O ile nie byliśmy jeszcze w teatrze, dokąd mieliśmy iść po śniadaniu, można by rzec, że jesteśmy w *foyer* strojnym w portrety starej gwardii

<sup>266</sup>*famulus* (daw., z łac.) — służący. [przypis edytorski]

aktorskiej, tak dalece kelnerzy mieli owe fizjonomie, które wydają się stracone wraz z całą generacją świetnych artystów Palais-Royal. Stojąc przed bufetem, wyglądali także na Akademików: jeden oglądał gruszki z twarzą, jaką mógłby mieć pan de Jussieu<sup>267</sup> i z jego bezinteresownym zaciekawieniem; inni obok niego rzucali na salę spojrzenia nacechowane ciekawością i chłodem, jakimi znakomici członkowie Instytutu mierzą publiczność, wymieniając równocześnie po cichu parę słów. Były to twarze sławne wśród bywalców lokalu; ale pokazywano sobie jednego nowego z rubinowym nosem i obłudną wargą, z miną kleszą; ten funkcjonował tutaj po raz pierwszy, toteż wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na nowego wybrańca. Niebawem, może dlatego aby wyprawić Roberta i zostać sama z Aimém, Rachela zaczęła robić oko do młodego kantorowicza, który jadł śniadanie z przyjacielem przy sąsiednim stoliku.

— Zizi, prosiłbym cię, abys nie patrzyła na tego faceta w ten sposób — rzekł Saint-Loup, na którego twarzy przelotne rumieńce skupiły się w krwawą chmurę, wzbierającą w pociemniałych i napiętych rysach mego przyjaciela. — Jeżeli masz z nas robić widowisko, wolę zjeść śniadanie osobno i poczekać na ciebie w teatrze.

W tej chwili oznajmiono, że jakiś pan prosi, aby Aimé wyszedł do niego do powozu, że ma mu coś do powiedzenia. Saint-Loup, zawsze niespokojny i drżący, czy nie chodzi o jakąś pocztę miłosną dla jego kochanki, spojrzął w okno i ujrzał w głębi powozu, z rękami w białych rękawiczkach z czarnymi wyszyciami, z kwiatem w butonierce, pana de Charlus.

— Widzisz — rzekł do mnie z cicha — rodzinka ściga mnie aż tutaj. Proszę cię, bo ja nie mogę, ale skoro ty znasz dobrze kelnera, który nas z pewnością sprzeda, poproś go, aby nie szedł do powozu. Niech bodaj idzie garson, który mnie nie zna. Jeżeli powie wujowi, że mnie tu nie znają, wiem, jaki on jest, nie wejdzie do środka sprawdzać, on nie cierpi takich lokali. Ale powiedz, czy to nie jest obrzydliwe, żeby taki stary dziwkarz, wciąż jeszcze upędzający się za spódnicami, dawał mi wiecznie nauki i szpiegował mnie!

Aimé, otrzymawszy moje wskazówki, posłał jednego ze swoich pomocników z oznajmieniem, że on sam nie może podejść; gdyby się zaś pytano o margrabiego de Saint-Loup, kazał powiedzieć że go tu nie znają. Niebawem powóz odjechał. Ale Rachela, która nie słyszała tego, cośmy sobie szeptali, i myślała, że chodzi o młodego człowieka, do którego Robert zabronił jej robić oko, wybuchnęła obelgami.

— A to dobre! Więc teraz ten młody człowiek! Dobrze robisz, żeś mnie uprzedził; rozkoszna rzecz śniadanie w takich warunkach! Niech się pan nie zajmuje tym, co on mówi, on jest trochę wstawiony; a zresztą — dodała, obracając się do mnie — on tak mówi, bo myśli, że to jest szyk, że to jest w wielkim stylu takie sceny zazdrości.

I zaczęła rękami i nogami dawać wyraz swemu zdenerwowaniu.

— Ależ, Zizi, to ja mogę być zirytowany. Ośmieszasz nas w oczach tego pana, który będzie przekonany, że ty go kokietujesz, a który wygląda na figurę spod najciemniejszej gwiazdy.

— Mnie, przeciwnie, bardzo się podoba; po pierwsze, ma cudowne oczy, do tego umie patrzeć na kobiety; czuć, że je musi kochać.

— Milcz przynajmniej, póki ja nie wyjdę. Tyś zupełnie oszalała! — krzyknął Robert. — Garson, moje rzeczy.

Nie wiedziałem, czy mam iść za nim.

— Nie, chcę być sam — rzekł do mnie tym samym tonem, jakim przed chwilą mówił do swojej kochanki i tak jakby był na mnie wściekły. Gniew jego był niby wspólna fraza, dająca w operze melodię kilku replikom zupełnie różniącym się w librecie od siebie sensem i charakterem, ale złączonym przez muzykę w jednym uczuciu. Kiedy Robert odszedł, Rachela wezwała Aimégo, prosząc go o różne informacje. Spytała mnie potem, jak mi się on wydaje.

— Ma zabawne spojrzenie, prawda? Rozumie pan, mnie by bawiło wiedzieć, co on może myśleć, mieć go przy sobie do usługi, zabrać go z sobą w podróż. Ale nie więcej. Gdyby się trzeba było kochać z każdym mężczyzną, który się nam podoba, to byłoby

<sup>267</sup>Jussieu, Bernard de (1699–1777) — francuski botanik, należący do rodziny znanych botaników; założyciel ogrodu botanicznego w Trianon koło Wersalu. [przypis edytorski]

w gruncie dosyć okropne. Robert niepotrzebnie nabija sobie głowę. Wszystko to jest u mnie czysto cerebralne<sup>268</sup>, Robert powinien by być bardzo spokojny.

Patrzyła wciąż na Aimégo.

— O, niech pan patrzy na te jego czarne oczy, chciałabym wiedzieć, co tam w nich siedzi.

Niebawem oznajmiono Racheli, że Saint-Loup prosi ją do separatki, dokąd udał się innym wejściem, aby dokończyć śniadania, nie przechodząc przez restaurację. Znalazłem się nagle sam, potem Robert kazał mnie zawołać. Zostałem Rachelę wyciągniętą na sofie, śmiejącą się pod jego pocałunkami i pieszczotami. Pili szampana. „Serwus, ty!” — rzekła do niego, bo nauczyła się świeżo tej formuły, która się jej wydawała ostatnim słowem pieszczoty i dowcipu. Źle się jakoś czułem i, niezależnie od perory Legrandina, ze smutkiem myślałem, że zacząłem to pierwsze wiosenne popołudnie w separatce, a skończę je za kulisami. Spojrzawszy na zegarek, aby sprawdzić, czy się nie spóźni, Rachelę naląła mi szampana, poczęstowała mnie egipskim papierosem i odpięła dla mnie różę od stanika. Wówczas powiedziałem sobie: „Nie trzeba zbyt żałować dnia; godziny spędzone z tą młodą kobietą nie są stracone, skoro dzięki niej mam tę uroczą rzecz, której nie można opłacić zbyt drogo: różę, wonnego papierosa, kubek szampana”. Mówiłem to sobie, bo zdawało mi się, że w ten sposób daję owym godzinom nudy charakter estetyczny i tym samym usprawiedliwiam je. Może powinienem był myśleć, że sama potrzeba argumentu dla pocieszenia się w mojej nudzie starczy za dowód, że nie odczuwam nic estetycznego.

Co się tyczy Roberta i jego kochanki, robili wrażenie, że wcale nie pamiętają swojej świeżej sprzeczki ani tego, że ja byłem jej świadkiem. Nie robili do niej żadnej aluzji, nie szukali żadnego usprawiedliwienia, tak samo jak dla kontrastu, który z nią tworzyło obecne ich zachowanie się. Dojąc z nimi szampana, odczuwałem coś niby pijaństwo z Rivebelle, mimo iż zapewne nie było to to samo. Nie tylko każdy rodzaj pijaństwa — ale każdy stopień pijaństwa (który powinien mieć odmienną „kotę”, jak te, co oznaczają głębokość morza) obnaża w nas specjalnego człowieka, ściśle w tej głębokości, w jakiej się znajduje. Gabinet, gdzie siedzieliśmy, był mały, ale jedyne lustro, które go zdobiło, umieszczone było w ten sposób, że zdawało się odbijać trzydzieści innych w perspektywie bez końca; a lampka elektryczna umieszczona na szczycie ramy, wieczorem, kiedy była zapalona, musiała wraz z procesją trzydziestu podobnych do niej odbić dawać pijakowi, nawet samotnemu, wrażenie, że przestrzeń dokoła niego mnoży się równocześnie z jego wrażeniami podsyconymi pijaństwem i że, zamknięty w tej salce, panuje nad czymś o wiele rozleglejszym w swojej nieokreślonej i świetlnej krzywiźnie niż aleja Jardin de Paris. Otóż będąc w tej chwili owym pijącym, naraz, szukając go w lustrze, spostrzegłem go, szpetnego, nieznanego, patrzącego na mnie. Radość pijaństwa była mocniejsza niż wstręt; przez wesołość lub fanfaronadę uśmiechnąłem się doń, a równocześnie on uśmiechnął się do mnie. I czułem się tak bardzo pod ulotną i potężną władzą chwili, w której wrażenia są tak mocne, iż nie wiem, czy moim jedynym smutkiem nie była myśl, że owo okropne „ja”, które ujrzałem, przeżywa może swój ostatni dzień i że nigdy nie spotkam tego obcego człowieka w ciągu mego życia.

Robert był tylko zły, że nie chciał bardziej błyszczeć w oczach jego kochanki.

— No, słuchaj, opowiedz jej o tym panu, któregoś spotkał rano, co to miesza snobizm z astronomią, nie pamiętam już dobrze. — I zerkał na nią spod oka.

— Ależ, Robercie, nie ma o nim nic więcej do powiedzenia niż to, co powiedział.

— Nudny jesteś. Więc opowiedz o Franciszce na polach Elizejskich; to ją tak zabawi.

— Och, tak! Bobby ty mi mówił o Franciszce. — I biorąc Roberta pod brodę, Rachelę powtórzyła, przez brak inwencji, przyciągając mu głowę do światła: — Serwus, ty!

Pijaństwo

Lustro

Od czasu jak aktorzy nie byli już dla mnie wyłącznie, w swojej dykcji i w swojej grze, piastunami prawdy artystycznej, interesowali mnie sami w sobie; bawiłem się, tak jakbym oglądał postacie ze starego „romansu komicznego”, widząc, jak za zjawieniem się

<sup>268</sup>cerebralny (med.) — mózgowy, związany z mózgiem. [przypis edytorski]

nowej twarzy młodego panicza wchodzącego na salę „naiwna” słucha z roztargnieniem oświadczeń amanta na scenie, gdy ten, w pełni płomienną tyradę miłosnej, praży spojrzeniem starszą damę siedzącą w pobliskiej łoży i fascynującą go wspaniałymi perłami; w ten sposób, zwłaszcza dzięki informacjom Roberta o życiu prywatnym artystów, widziałem jakby inną sztukę, niemą i wyrazistą, odgrywaną pod sztuką mówioną, która zresztą, mimo iż mierna, interesowała mnie; czułem bowiem, jak w niej kiełkuje i rozkwita na przeciąg godziny, w świetle rampy, na twarzy aktora inna twarz, utworzona z aglutynacji<sup>269</sup> szminki i kartonu, a na jego prywatnej duszy inna dusza, stworzona ze słów roli.

Te znikome i żywe indywidualności, jakimi są osoby sztuki również pochłaniającej, które się kocha, podziwia, z którymi się współczuje, które chciałoby się ujrzyć po wyjściu z teatru, ale które się rozszczepiły na aktora pozbawionego już tego charakteru, jaki miał w sztuce, na tekst niezrośnięty już z twarzą aktora, na kolorowy pył dający się zetrzeć chustką, które, jednym słowem, obróciły się w składniki niemające już nic z nich, z przyczyny swego rozkładu, dokonanego natychmiast z końcem widowiska, każą, tak samo jak rozpad ukochanej istoty, wątpić o realności naszego ja i dumać nad tajemnicą śmierci.

Jeden numer programu był mi nadzwyczaj przykry. Młoda kobieta, przedmiot nienawiści Racheli i kilku jej przyjaciółek, miała debiutować w tym teatrzyku w starych piosenkach, na którym to debiucie wspierała wszystkie nadzieje swoje i swojej rodziny. Ta młoda kobieta miała pupę bardzo wydatną, niemal śmieszna; głos ładny, ale zbyt niski, zwątlony jeszcze tremą i stanowiący kontrast z tym potężnym umięśnieniem. Racheli ściągnęła do sali sporo swoich stronników, których zadaniem było paraliżować sarkazmami znaną z nieśmiałości debiutantkę; zbić ją z tropu tak, aby zrobiła kompletne fiasko, które by ją pozbawiło widoków *engagement*<sup>270</sup>. Od pierwszych słów nieszczęsnej kilku widzów zaczęło sobie w tym celu pokazywać ze śmiechem jej tył; kilka kobiet należących do spisku śmiało się w głos; każda wysoka nuta zwiększała rozmyślną wesołość trącąca skandalem. Nieszczęśliwa, która pociła się z męki pod szminką, próbowała przez chwilę walczyć; potem rzuciła na salę zrozpaczone i oburzone spojrzenie, które jedynie zdwoiło wycia. Zmysł naśladowczy, chęć okazania odwagi i dowcipu pociągnęły kilka ładnych aktorek, których nie uprzedzono z góry, ale które, porozumiewszy się z tamtymi złośliwym spojrzeniem, wiły się wśród gwałtownych wybuchów śmiechu, tak że pod koniec drugiej piosenki, mimo iż program obejmował ich jeszcze pięć, reżyser kazał spuścić kurtynę. Siliłem się nie myśleć już o tym wydarzeniu, tak samo jak o cierpieniu mojej babki, kiedy wuj, aby ją podrażnić, częstował dziadka koniakiem; pojęcie złośliwości miało dla mnie coś nazbyt bolesnego. A przecież, tak samo jak litość wobec nieszczęścia nie jest może zbyt ścisła, bo siłą wyobraźni odtwarzamy sobie cały ból, nad którym nieszczęśliwy, zmuszony walczyć przeciw niemu, nie myśli się roztkliwiać, tak samo złość nie posiada zapewne w duszy złośliwego człowieka owego czystego i rozkosznego okrucieństwa, którego pojęcie sprawia nam taką przykrość. Nienawiść jest mu pobudką, gniew daje mu zapal, energię, niemające nic bardzo radosnego; trzeba by sadyzmu, aby stąd czerpać przyjemność; zły myśli, że dręczy złego. Racheli wyobrażała sobie z pewnością, że aktorka, której dokuczala, nie jest niczym interesującym; w każdym razie sądziła, że wywołując gwizdania, broni dobrego smaku, drwiąc sobie z tego, co śmieszne i dając nauczkę złej koleżance. Mimo to wolałem nie mówić o tym wydarzeniu; skoro nie miałem odwagi ani siły zapobieżenia mu, byłoby mi zbyt przykro, gdybym, mówiąc dobrze o ofercie, sprowadzał do sadyzmu uczucia ożywiającej katów tej debiutantki.

Ale początek tego przedstawienia zainteresował mnie jeszcze w inny sposób. Wy tłumaczył mi po części naturę złudzenia, jakiego Saint-Loup był ofiarą w stosunku do Racheli; złudzenia, które stworzyło przepaść między obrazami, pod jakimi oglądaliśmy obaj kochankę Roberta, widząc ją tegoż ranka pod kwitnącą gruszą. Racheli niemalże statystowała w błażej sztuczce. Ale oglądana w ten sposób, była to inna kobieta. Twarz jej była z tych, które wydobywa odległość, a które rozsypują się w proch widziane z bliska. I niekoniecznie odległość sceny: świat jest w tej mierze jedynie większym teatrem. Będąc tuż obok niej, widziało się jedynie mgławicę, mleczną drogę piegów, przyszczyków,

<sup>269</sup> *aglutynacja* (z łac.) — skupianie się i zlepianie się w grudki komórek rozproszonych w płynnym środowisku. [przypis edytorski]

<sup>270</sup> *engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą: aktorem lub śpiewakiem. [przypis edytorski]



nic więcej. Na pewną odległość wszystko to znikало; z zatartych i wessanych policzków wyląniał się — niby półksiężyc — nos tak subtelny, tak czysty, że pragnęłoby się ściągnąć na siebie uwagę Racheli, widzieć ją do syta, mieć ją koło siebie — gdyby się jej nigdy nie widziało inaczej i z bliska! Ja nie byłem w tym położeniu, ale był w nim Saint-Loup, kiedy ją ujrzał na scenie pierwszy raz. Wówczas zadał sobie pytanie, jak się zbliżyć do niej, jak ją poznać; otwarła się w nim cała czarodziejska dziedzina — ta, w której żyła ona — skąd szły ku niemu rozkoszne promienie, ale do której nie miał dostępu. Wyszedł z teatru, powiadając sobie, że szaleństwem byłoby pisać do niej, że by mu nie odpowiedziała; gotów był oddać majątek i nazwisko dla istoty żyjącej w nim w świecie o tyle wyższym od tych nazbyt znanych realności; w świecie upiękuszonym żądzą i marzeniem, kiedy, czekając pod teatrem, starą budą, która sama robiła wrażenie dekoracji, ujrzał wysypującą się z drzwi w zgrabnych kapelusikach wesołą gromadkę grających owego wieczora aktorek. Młodzi ludzie, którzy je znali, czekali tam na nie. Ponieważ ilość pionków ludzkich jest mniej liczna niż ilość kombinacji, jakie mogą utworzyć, w sali, gdzie nie mamy nikogo znajomego, znajdzie się zawsze ktoś, kogo nie spodziewaliśmy się ujrzeć w życiu, a kto zjawia się tak w porę, że traf robi wrażenie czegoś opatrnościowego; niemniej, gdybyśmy się znaleźli nie tam, lecz gdzie indziej, gdzie by się zrodziły inne pragnienia, spotkalibyśmy znowu innego starego znajomego, zdolnego im dopomóc. Złote wrota świata marzeń zamknęły się za Rachelą, zanim Saint-Loup ujrzał ją wychodzącą z teatru, tak że piegi i pryszczki zeszły na drugi plan. Raziły go jednak, tym bardziej że, nie będąc już sam, nie miał już tej swobody marzenia co w teatrze. Ale młoda aktorka, mimo że jej już nie widział, dalej kierowała jego czynami, jak owe gwiazdy, które władają nad nami siłą swego przyciągania, nawet wówczas gdy nie są widzialne naszym oczom. Jakoż pragnienie zbudzone przez aktorkę o subtelnych rysach — których nawet nie pamiętał — sprawiło, iż, rzucając się na obecnego tam przypadkowo dawnego kolegę, kazał się przedstawić osobie bez rysów i z piegami (skoro to była ta sama), powiadając sobie, że później postara się rozpoznać, którą z dwóch kobiet jest ta osoba w rzeczywistości. Rachela śpieszyła się, nie odezwała się nawet tym razem do Roberta; dopiero w kilka dni później zdołał uzyskać to, że pożegnała kolegów i pozwoliła się odprowadzić. Kochał ją już. Potrzeba marzenia, pragnienie szczęścia przez osobę, którą się wymarzyło, sprawiają, że niewiele czasu potrzeba, aby powierzyć wszystkie swoje nadzieje szczęścia tej, która kilka dni wprzód była jedynie przygodnym, nieznanym, obojętnym zjawiskiem na deskach teatru.

Po zapadnięciu kurtyny przeszliśmy na scenę. Onieśmielony swoją obecnością na deskach scenicznych chciałem się wdać w rozmowę z Robertem; w ten sposób moje zachowanie się (a nie wiedziałem, jak by się właściwie należało zachować w tak dla mnie nowym miejscu) utonęłoby całkowicie w naszej rozmowie; wszyscy będą myśleli, że jestem tak zaabsorbowany, iż wyda się całkiem naturalne, że mój wyraz nie odpowiada miejscu, gdzie się znajduję, ile że, pochłonięty tym, co mówię, zaledwie wiem, gdzie jestem. Zatem, dla pośpiechu, chwyciłem się pierwszego z brzegu tematu:

— Wiesz — rzekłem do Roberta — że byłem się z tobą pożegnać w dniu wyjazdu; nigdy nie mieliśmy sposobności mówić o tym. Kłaniałem ci się na ulicy.

— Nie mów nawet — odparł — byłem w rozpacz; spotkaliśmy się tuż koło koszar, ale nie mogłem się zatrzymać, bo już byłem bardzo spóźniony. Byłem niepokieszony, wierząc.

Więc on mnie poznał! Widziałem jeszcze ten całkowicie bezosobisty ukłon, jaki Robert oddał mi, przykładając rękę do kępi, bez jednego spojrzenia zdradzającego, że mnie zna, bez gestu, który by wyraził żal, że się nie może zatrzymać. Widocznie owa fikcja, jaką obrał w danej chwili — ta, że mnie nie poznaje — musiała dlań upraszczać sytuację. Ale byłem zdumiony, że mógł się na nią zdecydować tak szybko, zanim jakiś odruch zdradził pierwsze wrażenie. Zauważyłem już w Balbec, że obok tej naiwnej szczeroci jego twarzy, której skóra przezroczyłością swoją przepuszczała nagły dopływ pewnych wzruszeń, ciało Roberta było cudownie wdrożone wychowaniem do pewnej ilości towarzyskich komedii; niby doskonały aktor, mógł on — w pułku czy w salonie — grać na przemian rozmaite role. W jednej z tych ról kochał mnie głęboko, był ze mną jak z bratem; był moim bratem przedtem i stał się nim znów potem, ale przez krótką chwilę był innym człowiekiem, który mnie nie znał i który, trzymając lejce, z monoklem w oku, bez spojrzenia i uśmiechu, podniósł rękę do kępi, aby mi oddać poprawny ukłon wojskowy!

Snułem się między dekoracjami. Widziane z bliska, odarte z czaru odległości i światła, obliczonych przez wielkiego malarza, który je projektował, wydawały się nędzne; Rachel zaś, kiedy się do niej zbliżył, nie mniej uległa władzy zniszczenia. Skrzydła jej uroczego nosa zgubiły się w perspektywie, między salą a sceną, całkiem tak jak plastyka dekoracji. To już nie była ona; poznawałem ją jedynie dzięki oczom, w których schroniła się jej tożsamość. Forma, blask tej błyszczącej przed chwilą młodej gwiazdy — znikły. W zamian za to — tak jak gdybyśmy się zbliżyli do księżycy i jak gdyby się nam przestał wydawać różowy i złoty — na tej twarzy tak gładkiej przed chwilą, widziałem już tylko same narośle, plamy, wyboje. Mimo chaosu, w jaki się rozpadały z bliska nie tylko twarz kobieca, ale malowane płótna, czułem się szczęśliwy, że tam jestem, że chodzę pośród dekoracji, w całej tej ramie, którą niegdyś moja miłość natury czyniłaby mi nudną i sztuczną, ale którą pędzel Goethego w *Wilhelmie Meisterze*<sup>271</sup> obdarzył dla mnie niejaką pięknnością.

Zachwyciło mnie, że pośród dziennikarzy lub zaprzyjaźnionych z aktorkami światowców, którzy kłaniali się, rozmawiali, palili jak w restauracji, widzę młodego człowieka w czarnym aksamitnym berecie, w spódnicze „hortensja”, z policzkami cętkowanymi różem niby kartka z albumu Watteau<sup>272</sup>. Z uśmiechem na ustach, z oczami wzniesionymi ku niebu, manewrując z wdziękiem rękami, podskakując lekko, ów młody człowiek wydawał się istotą tak bardzo innego gatunku niż rozsądni ludzie w marynarkach i tużurkach, pośród których on ścigał jak wariat swoje ekstatyczne marzenie, tak obcy sprawom ich życia, tak wcześniejszy od form ich cywilizacji, tak wyzwolony z praw natury! Patrząc nań, śledzić oczami wśród dekoracji swobodne arabeski, jakie kreśliły na nich jego kapryśne i uszmiłkowane skrzydlate pląsy, było orzeźwiająco i miłe niby oglądać motyla zabłąkanego w ciżbie. Ale w tej samej chwili Saint-Loup wyobraził sobie, że jego kochanka zwraca zbyt dużą uwagę na tego tancerza próbującego ostatni raz figury *divertissement*<sup>273</sup>, w którym miał wystąpić; twarz Roberta spochmurniała.

— Mogłabyś patrzeć w inną stronę — rzekł ponuro. — Wiesz, że ci tancerze to są skończone wycieruchy, obwiesie spod ciemnej gwiazdy! Taki będzie się potem chwalił, żeś na niego zwróciła uwagę. Zresztą, słyszysz przecie, wołają, żebyś szła się ubierać. Znowu się spóźnisz.

Trzej panowie — trzej dziennikarze — widząc wściekłą minę Roberta de Saint-Loup, zbliżyli się rozbawieni, aby posłuchać wymiany słów. Że zaś z drugiej strony ustawiano dekoracje, przyparto nas do nich.

— Och, ależ ja go poznaję, to mój przyjaciel — wykrzyknęła kochanka Roberta, patrząc na tancerza. — Ależ on to świetnie robi, patrzcie na małe ręce, jak one tańczą wraz z całą resztą!

Tancerz obrócił głowę; ludzka jego osobowość zjawiała się w sylfie<sup>274</sup>, którego wcielił; prosta i szara galareta jego oczu zadrżała i zabłysła między sztywnymi i malowanymi rzęsami, a uśmiech poszerzył jego usta na uróżowanej twarzy. Następnie, aby zabawić młodą kobietę, niby śpiewaczka nucąca przez uprzejmość aryjkę, która nas zachwyciła, zaczął powtarzać ruch rąk, parodiując samego siebie z finezją karykaturzysty i wesołością dziecka.

— Och, to świetne! jak on robi samego siebie! — wykrzyknęła Rachel, klaszcząc w ręce.

— Błagam cię, kochanie — rzekł Saint-Loup żalonym głosem — nie rób z siebie widowiska; zabijasz mnie. Przysięgam ci, że jeżeli powiesz jeszcze słowo, nie przyjdę do ciebie do garderoby i pójdę sobie. No, Zizi, nie bądź niedobra.

— Nie stój tak w tym dymie cygar, zaszkożdzisz sobie — rzekł do mnie Saint-Loup, z troskliwością, jaką miał dla mnie od czasu Balbec.

<sup>271</sup> Goethe, Johann Wolfgang von (1749–1832) — jeden z najwybitniejszych autorów niemieckich, poeta, dramaturg, prozaik, uczyony i polityk, reprezentant nurtu „burzy i naporu”, przedstawiciel klasycyzmu weimarskiego; autor m.in. powieści epistolarniej *Cierpienia młodego Wertera* (1774), dramatu *Faust* (cz. I 1808, cz. II 1831), powieści dydaktycznej *Lata nauki Wilhelma Meistra* (1796) oraz zbioru nowel *Lata wędrówki Wilhelma Meistra* (1821). [przypis edytorski]

<sup>272</sup> Watteau, Antoine (1734–1724) — francuski malarz, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka. [przypis edytorski]

<sup>273</sup> *divertissement* (fr.) — wywodzące się z francuskiej kultury dworskiej XVII w. krótkie widowiska, np. baletowe lub o charakterze mieszanym. [przypis edytorski]

<sup>274</sup> sylf — duch żywiołu powietrza. [przypis edytorski]

— Och, co za szczęście, jeżeli sobie pójdiesz.  
— Uprzedzam cię, że już nie wrócę.  
— Nie śmiem o tym marzyć.  
— Słuchaj, wiesz, przyrzekłem ci naszyjnik, jeżeli będziesz grzeczna; ale skoro mnie traktujesz w ten sposób...

— A, to coś, co mnie nie dziwi u ciebie. Przyrzekłeś mi, powinnam była zgadnąć, że nie dotrzymasz. Podzwaniaś mi nad uchem swoimi pieniędzmi, ale ja nie jestem interesowna jak ty. Mam twoją kolię gdzieś. Znam kogoś, kto mi ją ofiaruje.

— Nikt ci jej nie ofiaruje, bo zastrzegłem ją u Bouchersona i mam jego słowo, że jej nie sprzeda nikomu prócz mnie.

— Doskonale, chciałeś mnie szantażować, zabezpieczyłeś się z góry. Typowy potomek Marsantów, *Mater Semita*<sup>275</sup>, czuć rasę — odparła Rachela, powtarzając etymologię wspartą na grubym błędzie, bo *semita* znaczy „ścieżka”, a nie Semitka, ale przylepioną Robertowi przez nacjonalistów z powodu jego dreyfusizmu, przejętego zresztą od Racheli. A już Rachela mniej niż ktokolwiek miała racji przymawiać od Żydówek pani de Marsantes, u której salonowi etnografowie nie zdołali wykryć Żyda poza jej pokrewieństwem z rodziną Lévy-Mirepoix. — Ale jeszcze nie wszystko skończone, bądź pewny — ciągnęła Rachela. — Słowo dane w tych warunkach nie ma znaczenia. Podszedłeś mnie. Boucherson dowie się o tym i dostanie podwójną cenę za swoją kolię. Usłyszysz o mnie niedługo, bądź pewien.

Saint-Loup miał sto razy rację. Ale okoliczności są zawsze tak zagmatwane, że ten, co ma rację sto razy, może jej nie mieć raz. I mimo woli przypomniałem sobie to niemile, a przecież bardzo niewinne słówko, które mu się wyrwało w Balbec: „W ten sposób mam ją w ręku”.

— Źle zrozumiałas to, co mówiłem o kolii. Nie przyrzekłem ci jej w sposób formalny. Z chwilą gdy robisz wszystko, aby mnie przywieść do zerwania, bardzo naturalne jest, że ci jej nie dam. Nie rozumiem, gdzie tu widzisz podejście lub interesowność. Nie możesz mówić, że ja podzwaniałm pieniędzmi; wciąż ci powtarzam, że jestem biedny i że nie mam grosza. Nie słusznie bierzesz to w ten sposób, maleńka. W czym jestem interesowny? Ty wiesz, że jedyne, co mnie interesuje, to ty.

— Owszem, owszem, możesz mówić dalej — rzekła ironicznie Rachela, imitując gestem ruch piły. Po czym zwróciła się do tancerza:

— Och, naprawdę, on jest bajeczny z tymi rękami. Ja, kobieta, nie potrafiłabym tego, co on wyczynia.

I obracając się do tancerza, pokazała mu zmienioną twarz Roberta:

— Patrz, on cierpi — szepnęła doń w przystępie sadystycznego okrucieństwa, niebędącego zresztą w stosunku do jej prawdziwego przywiązania do Roberta.

— Słuchaj, ostatni raz, przysięgam ci, że choćbyś na głowie stawała, będziesz mogła za tydzień przeproszać, ile ci się podoba, nie wrócę. Miarka się przebrała, uważaj. To już nieodwołalne; będziesz tego żałowała kiedyś, ale będzie za późno.

Może był szczery; ból rozstania się z kochanką wydawał mu się mniej okrutny niż znoszenie pewnych rzeczy.

— Słuchaj, dziecko — rzekł Robert zwracając się do mnie — nie stój tutaj, powtarzam ci, zaczniesz kaszleć.

Wskazałem dekorację, która nie pozwalała mi zmienić miejsca. Saint-Loup dotknął lekko kapelusza i rzekł do dziennikarza:

— Proszę pana, czy pan nie zechciałby rzucić cygara, dym szkodzi mojemu przyjacielowi.

Nie czekając nań, Rachela skierowała się do garderoby; idąc, odwróciła się jeszcze:

— Czy i z kobietami tak sobie poczynają te małe rączki? — rzekła z daleka do tancerza sztucznie melodyjnym i niewinnym głosikiem „nawnej”. — Ty sam robisz wrażenie kobiety; sądzę, że można by się doskonale porozumieć z tobą i z jedną z moich przyjaciółek.

— O ile wiem, palenie nie jest tu wzbronione; kiedy ktoś jest chory, najlepiej, żeby siedział w domu — rzekł dziennikarz.

<sup>275</sup>*Mater Semita* (łac.) — Główna Ścieżka. [przypis edytorski]

Tancerz uśmiechnął się tajemniczo do artystki.

— Och, cicho siedź, przywodziś mnie do szaleństwa — krzyknęła. — Zrobimy jakąś kombinację.

— W każdym razie, widzę, że pan nie jest uprzejmy — rzekł Saint-Loup do dziennikarza tonem wciąż łagodnym i grzecznym, z miną człowieka, który omawia jakieś minione zdarzenie.

W tej chwili ujrzałem, jak Saint-Loup podnosi prostopadle ramię, tak jakby dawał znak komuś, kogo nie widziałem, lub jak dyrygent orkiestry. I w istocie — bez większego przejścia niż kiedy, na prosty ruch pałeczki w symfonii lub w balecie, gwałtowny rytm następuje po wdzięcznym *andante*<sup>276</sup> — po swoich grzecznych słowach Robert opuścił w grzmiącym policzku dłoń na twarz dziennikarza.

Teraz, kiedy po pełnych umiaru rozmowach dyplomatów, po pogodnych igraszkach pokoju nastąpił wściekły wybuch wojny, nie zdziwiłbym się nadto, widząc przeciwników kąpiących się we własnej krwi. Cios prowokował cios. Ale czego nie mogłem zrozumieć (jak osoby, które uważają za niewłaściwość wybuch wojny między dwoma krajami, wówczas gdy dopiero była mowa o rewizji granic, lub śmierć chorego, kiedy była mowa jedynie o powiększeniu wątroby), to w jaki sposób, po słowach Roberta dyskutujących jedynie stopień grzeczności, mógł nastąpić gest, który zupełnie nie wypływał z tych słów, gest, którego one nie zapowiadały. Ten gest, zrodzony w samoródtwie gniewu *ex nihilo*<sup>277</sup>, gwałcił nie tylko prawo narodów, ale zasadę przyczynowości. Szczęściem, dziennikarz, który, zachwiaszwszy się pod gwałtownością uderzenia, zbladł i zawahał się chwilę, nie oddał ciosu. Co się tyczy jego przyjaciół, jeden natychmiast odwrócił głowę, wypatrując z uwagą w stronę kulis kogoś, kogo najoczywściej tam nie było; drugi udał, że mu coś wpadło w oko, i krzywiąc się, zaczął trzeć powiekę; trzeci rzucił się ku wyjściu, wołając: „Och, zdaje się, że podnoszą kurtynę: nie dostaniemy się na salę”.

Byłbym chciał przemówić do Roberta, ale był tak przepelniony oburzeniem na tancerza, że przyłgnęło ono całkowicie do powierzchni jego źrenic; niby wewnętrzne ruszowanie napinało jego policzki, tak że jego duchowe podniecenie wyrażało się pełnym zewnętrznym bezruchem; nie zdobyłby się nawet na grę mięśni pozwalającą przyjąć do świadomości moje słowa ani odpowiedzieć na nie. Przyjaciele dziennikarza, widząc, że wszystko jest skończone, zbliżyli się do niego, jeszcze drżący. Ale, wstydząc się, że go opuścili, chcieli koniecznie, aby myślał, że oni nic nie zauważyli. Jeden zaczął obszernie opowiadać, że mu coś wpadło w oko, drugi, że myślał, iż podnoszą kurtynę, trzeci rozwiódł się nad niezwykłym podobieństwem kogoś przechodzącego do jego brata. Zdawali się nawet mieć pretensję do niego, że nie dzieli ich przeżyć.

— Jak to, nie uderzyło cię to? Ślepy jesteś?

— A wy jesteście kapłony<sup>278</sup> — burknął spoliczkowany dziennikarz.

Niekonsekwentni wobec przyjętej fikcji, na zasadzie której powinni byli — ale tego nie uczynili — udać, że nie rozumieją, o co jemu chodzi, powiedzieli to, co jest tradycyjne w takich okolicznościach:

— Ech, zaciętrzewiasz się, nie przejmuj się, ależ z ciebie gorączka.

Zrozumiałem tego rana pod kwitnącymi gruszami złudzenie, na jakim wspierała się miłość Roberta do „Racheli, kiedy Pan?”; niemniej zdawałem sobie sprawę, ile, przeciwnie, jest realności w cierpieniu zrodzonym z tej miłości. Pomału ból, jaki Saint-Loup odczuwał od godziny, nie ustał, ale skurczył się, wsiąknął, w oczach jego pojawiała się wolna i elastyczna strefa. Opuściliśmy teatr i szliśmy przed siebie. Zatrzymałem się chwilę na rogu avenue Gabriel, skąd niegdyś widywałem często zjawiającą się Gilbertę. Próbowałem przez kilka sekund przypomnieć sobie te wrażenia, po czym przyspieszyłem kroku, aby dogonić Roberta, kiedy ujrzałem, że dość lichy ubrany jegomość mówi doń coś z bliska. Wywnioskowałem, że to musi być jakiś osobisty przyjaciel Roberta; ale ujrzałem, że jeszcze jakby zbliżyli się do siebie; naraz, tak jak na niebie ukazuje się zjawisko astralne, ujrzałem owoidalne<sup>279</sup> ciała, które z zawrotną chyżością przybierały wszystkie pozycje,

<sup>276</sup>*andante* (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>*ex nihilo* (łac.) — z niczego. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>*kapłan* — kastrowany kogut, tuczony na mięso. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>*owoidalny* (z łac.) — jajowaty. [przypis edytorski]

pozwalające im utworzyć w stosunku do Roberta niestałą konstelację. Wyrzucone niby z procy, przybrały dla mnie liczbę co najmniej siedmiu. Były to wszakże jedynie dwie pięści Roberta, pomnożone przez chyżość zmiany miejsca w tej idealnej na pozór i dekoracyjnej całości. Ale fajerwerk ten był jedynie „laniem”, jakie Saint-Loup aplikował obcemu panu; agresywny zaś (w miejsce estetycznego) charakter zdarzenia ujawniła mi dopiero mina nieszczególnie ubranego jegomościa, który zdawał się równocześnie tracić równowagę, szczękę i dużo krwi. Osobom, które zbliżyły się z pytaniami na ustach, dał jakieś kłamiwe wyjaśnienia, odwrócił głowę i widząc, że Saint-Loup zdecydowanym krokiem oddala się w moją stronę, patrzył za nim z miną urażoną i przybitą, ale bynajmniej nie wściekłą. Wściekły był, przeciwnie, Saint-Loup, mimo że jemu nic się nie dostało; kiedy się zrównał ze mną, oczy jego błyszczały jeszcze gniewem. Wypadek ten nie miał (jak mogłem przypuszczać) żadnego związku z pyskobicim w teatrze. Ów pan był to gorąco krwisty przechodzień, który widząc pięknego żołnierza, uczynił mu pewne propozycje. Saint-Loup nie mógł się nadziwić czelności tej „kliki”, która nie czeka dla swoich praktyk nawet mroków nocy; mówił o propozycjach nieznajomego z tym samym oburzeniem, z jakim dzienniki mówią o kradzieży zbrojną ręką, popełnionej w biały dzień w centrum Paryża. Usprawiedliwieniem spranego jegomościa mogłoby być to, że żądza sąsiaduje na tyle blisko z aktem, aby sama piękność zdawała się już przyzwoleniem. Otóż fakt, że Saint-Loup był piękny, nie podlegał dyskusji. Lanie, które zaaplikował nieznajomemu, ma dla tego rodzaju ludzi tę korzyść, że każe się im poważnie zastanowić nad sobą; ale działanie tych refleksji trwa zazwyczaj zbyt krótko, aby się mogli poprawić i uniknąć w końcu znajomości z policją. Tak więc — mimo że Saint-Loup zaaplikował swoją pucówkę bez wielkiego zastanowienia — wszystkie tego rodzaju egzekucje, nawet gdy przychodzą w pomoc prawom, nie są zdolne ujednostajnić obyczajów.

Wydarzenia te — a zwłaszcza to, o którym myślał najbardziej — zrodziły z pewnością w Robercie potrzebę samotności. Zaproponował mi, abym sam poszedł do pani Villeparisis; on przyjdzie później; woli — powiadał — abyśmy nie wchodzili razem; w ten sposób będzie wyglądało, że on dopiero co przyjechał do Paryża, nie zaś, żeśmy już spędzili z sobą popołudnie.

Jak to przypuszczałem przed poznaniem pani de Villeparisis w Balbec, między srodowiskiem, w którym żyła margrabina, a światem pani de Guermantes istniała wielka różnica. Pani de Villeparisis należała do kobiet, które, pochodząc ze świetnej rodziny, wszedłszy przez fakt małżeństwa w inną, nie mniej świetną, nie mają mimo to wielkiej sytuacji światowej; prócz kilku diuszes<sup>280</sup>, będących ich siostrzenicami lub szwagierkami, a nawet paru koronowanych głów (stare stosunki rodzinne), skupiają w swoim salonie jedynie publiczność trzeciego rzędu, mieszczaństwo, szlachtę prowincjonalną albo z „felerem”, której obecność od dawna wypłoszyła ludzi eleganckich lub snobów, o ile nie są zmuszeni bywać tam z obowiązku pokrewieństwa lub zbyt dawnej zażyłości. Zapewne, po paru chwilach nietrudno mi było zrozumieć, jakim cudem pani de Villeparisis była w Balbec tak dobrze — lepiej od nas samych — poinformowana o najmniejszych szczegółach podróży, jaką ojciec odbywał wówczas po Hiszpanii z panem de Norpois. Ale to nie dopuszczało wniosku, aby dwudziestoletni przeszło stosunek pani de Villeparisis z ambasadorem mógł być racją zdeklasowania się margrabiny w towarzystwie, gdzie najświetniejsze kobiety afiszują mniej godnych kochanków; zresztą pan de Norpois był z pewnością od dawna dla margrabiny jedynie starym przyjacielem. Czy pani de Villeparisis miewała niegdyś inne przygody, będąc wówczas gorętszej krwi niż obecnie na starość, która to starość, spokojna i nabożna, zawdzięczała może jednak trochę swojej barwy owym namiętym i odległym latom? Może nie umiała na prowincji, gdzie mieszkała przez czas dłuższy, uniknąć pewnych skandalów, nieznanym nowym pokoleniom, które konstatowały jedynie ich skutki w mieszanym i wątpliwym składzie salonu, stworzonym z natury swojej na to, aby był najbardziej wolny od wszelkiego aliażu<sup>281</sup>? Czy ów

<sup>280</sup> diusza (z fr.) — księżna. [przypis edytorski]

<sup>281</sup> aliaż (z fr.) — daw.: stop metali; dziś przen.: mieszanina, połączenie różnych właściwości, pojęć, cech. [przypis edytorski]

„zły język”, jaki przypisywał jej siostrzeniec, zyskał jej w owych czasach wrogów? Czy kazał jej wyzyskiwać pewne sukcesy u mężczyzn, aby dawać folgę zemście wobec kobiet? Wszystko to było możliwe; a uroczy, subtelny — nie tylko w słowach, ale akcentach — sposób, w jaki pani de Villeparisis mówiła o skromności, o dobroci, nie był argumentem przeciw tej hipotezie; ci bowiem, co nie tylko pięknie mówią o pewnych cnotach, ale nawet odczuwają ich urok i rozumieją je doskonale, co potrafią w swoich pamiętnikach odmalować ich godny obraz, pochodzą wprawdzie często z niemej, surowej i prostodusznej generacji, która te cnoty uprawiała, ale sami do niej nie należą. Generacja ta odbija się w nich, ale się w nich nie kontynuuje. Miejsce jej dawnego charakteru zastępuje wrażliwość, inteligencja, które nie służą do czynu. I bez względu na to, czy w życiu pani de Villeparisis istotnie były owe skandale, które zatarłyby blask jej nazwiska, przyczyną jej zdeklasowania była z pewnością owa inteligencja — inteligencja niemal drugorzędnego pisarza raczej niż światowej kobiety.

Bez wątpienia pani de Villeparisis sławiła zwłaszcza przymioty niezbyt podniecające, jak takt i miarę; ale aby mówić o umiarze w sposób pełnowartościowy, miara nie wystarczy, trzeba pewnych zalet pisarskich, które wymagają egzaltacji przekraczającej miarę. Zauważyłem w Balbec, że geniusz pewnych wielkich pisarzy był dla pani de Villeparisis niedostępny; umiała jedynie drwić z nich sprytnie, dawać swemu niezrozumieniu dowcipną i wdzięczną formę. Ale ten dowcip i wdzięk, rozwinięte w tym stopniu co u niej, stawały się same — na innym planie i choćby ich używała dla zapoznania najwyższych arcydzieł — stawały się same prawdziwą wartością artystyczną. Otóż takie przymioty wywierają na wszelką światową sytuację swoiste działanie chorobotwórcze, jak mówią lekarze, i tak destrukcyjne, że najsolidniejsza pozycja ledwie parę lat zdoła mu się opierać. To, co artyści nazywają inteligencją, wydaje się czystą pretensjonalnością eleganckiemu towarzystwu, które, niezdolne stanąć na jedynym punkcie widzenia, z którego artyści sądzą wszystko, nie rozumiejąc nigdy specjalnego uroku, jakiemu tamci ulegają, dobierając wyrażen lub tworząc skojarzenia, odczuwa w zetknięciu z nimi zmęczenie, irytację, nader rychło rodzące antypatię. A przecież jak w rozmowie, tak w pamiętnikach swoich, które ogłoszono później, pani de Villeparisis ujawniała wdzięk na wskroś światowy. Przeszedłszy obok wielkich rzeczy, których nie zgłębiała, a czasem nie dostrzegała, z lat, które przeżyła i które odmalowała zresztą z wielką trafnością i czarem, utrwaliła jedynie to, co w nich było najblahsze. Ale dzieło, nawet kiedy się ima jedynie tematów nieintelektualnych, jest i tak przejawem inteligencji; aby dać w książce lub w mało różniącej się od niej rozmowie doskonale wrażenie pustki, trzeba pewnej refleksji, do której osoba całkowicie pusta nie byłaby zdolna. W niektórych pamiętnikach pisanych przez kobietę i uważanych za arcydzieło, to i owo zdanie, cytowane jako model lekkości i wdzięku, zawsze nasuwało mi myśl, że aby dojść do tej lekkości, autorka musiała posiadać niegdyś dość solidną wiedzę, uprzykrzone wykształcenie, i że jako młoda dziewczyna była może w oczach przyjaciółek nieznośną sawantką<sup>282</sup>. Między niektórymi przymiotami literackimi a nielaską „świata” związek jest tak nieuchronny, że kiedy dziś czytamy pamiętniki pani de Villeparisis, jakieś trafne wyrażenie, jakaś celna metafora wystarczą czytelnikowi, aby przy ich pomocy uprzytomnił sobie głęboki, ale lodowaty ukłon, jaki na schodach jakiejś ambasady musiała składać starej margrabinie snobka w rodzaju pani Leroi, która rzucała jej może bilet wizytowy, udając się do Guermantów, ale nigdy nie przestępowała progu jej salonu z obawy, aby się nie zdeklasować w towarzystwie bywających tam żon lekarzy lub rejentów<sup>283</sup>. Sawantką była może pani de Villeparisis w pierwszej młodości; upojona wówczas swoją wiedzą, nie umiała może powstrzymać — w przeciwieństwie do ludzi światowych, mniej od niej inteligentnych i mniej wykształconych — ostrych żarcików, których zraniona nimi osoba nie zapomina.

Przy tym talent nie jest naddatkiem, który się sztucznie dołącza do rozmaitych zalet zapewniających sukcesy towarzyskie, w tym celu, aby stworzyć to, co światowcy nazywają „damą”. Talent jest żywym produktem pewnej organizacji duchowej, której na ogół wielu zalet brakuje i w której przeważa wrażliwość; a cechy tej wrażliwości, których nie dostrzegamy w książce, mogą się przejawiać dość jaskrawo w życiu, na przykład pewne

<sup>282</sup>sawantka (daw.; z fr. *savante*: uczona) — kobieta wykształcona, erudytka. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>rejent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

zainteresowania, fantazje, ochota pójścia tu czy tam dla własnej przyjemności, nie w celu pomnożenia, podtrzymania lub prostego kontynuowania stosunków towarzyskich. Wiedziałem w Balbec panią de Villeparisis otoczoną swoim dworem, niepatrzącą nawet na osoby zbierające się w hallu hotelowym. Ale miałem przeczucie, że to odcięcie nie było obojętnością, i zdaje się, że dawniej nie zawsze je sobie nakładała. Zapalała się do poznania jakiegoś osobnika, niemającego żadnych tytułów do bywania u niej; czasem dlatego, że ją uderzył swoją urodą, lub tylko dlatego, że chwalono jego dowcip, lub że się wydawał inny od jej znajomych, którzy, w owej epoce, kiedy ich jeszcze nie ceniła, bo myślała, że jej nigdy nie opuszczą, należeli wszyscy do najczystszej Faubourg Saint-Germain. Jakimś cyganowi, plebejuszowi, którego wyróżniła, musiała posyłać zaproszenia, których wartości nie mógł ocenić, z wytrwałością, która deprecjonowała stopniowo margrabinę w oczach snobów, nawykłych szacować salon raczej wedle osób, które pani domu z niego wyklucza, niż wedle tych, które przyjmuje.

To pewne, że jeżeli pani de Villeparisis w latach młodości, zblazowana przyjemnością należenia do najrasowszego kwiatu arystokracji, czyniła sobie jakby zabawę z tego, aby gorszyć swój świat i rezolutnie niweczyć własną sytuację, zaczęła cenić tę sytuację, odkąd ją straciła. Niegdyś chciała pokazać diuszom, że jest czymś więcej od nich, mówiąc i robiąc wszystko to, czego one nie śmiały mówić i robić. Ale teraz, kiedy one, z wyjątkiem najbliższej rodziny, przestały u niej bywać, czuła się upośledzona i pragnęła jeszcze panować, ale inaczej niż inteligencją. Byłaby chciała ściągnąć wszystkie te, które tak starannie odsunęła. Ileż egzystencji kobiecych, mało znanych zresztą (bo każdy, wedle swego wieku, ma jakby swój odrębny świat, a dyskrekcja starców nie pozwala młodym ludziom znać przeszłości i ogarnąć całego kręgu), rozpada się w ten sposób na sprzeczne okresy, z których ostatni jest wypełniony pracą nad odzyskaniem tego, co w drugim tak wesoło puszczono z wiatrem! Puszczono z wiatrem w jaki sposób? Młodzi ludzie niełatwo to sobie wyobrażają, wówczas gdy mają przed sobą starą i czcigodną margrabinę de Villeparisis; nie postanie im w myśli, aby dzisiejszy poważny pamiętnikarz, tak godny pod swoją białą peruką, mógł być niegdyś wesołą kobietką, stanowiącą rozkosz lub ruinę ludzi od dawna leżących w grobie. To, że margrabina zniweczyła w ten sposób z całą wytrwałością i konsekwencją sytuację, jaką zawdzięczała swemu urodzeniu, nie znaczy zresztą wcale, aby nawet w owej odległej epoce nie ceniła wysoko swojej pozycji. Tak samo neurastenik<sup>284</sup> może sam dziergać od rana do wieczora odosobnienie i beczynność, w jakich żyje i od których cierpi; i podczas gdy się sili dodać nowe oczko do sieci, która go czyni więźniem, być może iż marzy o samych balach, polowaniach i podróżach. Pracujemy nieustannie nad tym, aby nadać kształt swojemu życiu, ale kopiując mimo woli, niby wzorek, rysy osoby, którą jesteśmy, nie zaś tej, którą byłoby nam miło być. Wzgardliwe ukłony pani Leroi mogły wyrażać poniekąd prawdziwą naturę pani de Villeparisis, ale nie odpowiadały zgola jej pragnieniu.

Bez wątpienia, w tej samej chwili gdy pani Leroi, wedle ulubionego wyrażenia pani Swann, „zamrażała” margrabinę, ta mogła szukać dla siebie pociechy, wspominając, iż niegdyś królowa Maria Amelia<sup>285</sup> mówiła jej: „Kocham cię jak córkę”. Ale tego rodzaju uprzejmości monarsze, sekretne i nieznane, istniały tylko dla margrabiny, zakurzone niby dyplom eks-laureata konserwatorium. Jedyne prawdziwe przewagi światowe to te, które tworzą życie; które mogą zniknąć, ten zaś, co z nich korzysta, nie potrzebuje ani się ich czepiać, ani się nimi chwalić, bo tego samego dnia zastąpi je sto innych. Przypominając sobie słowa królowej, pani de Villeparisis byłaby je chętnie zamieniła na stałą moc zyskiwania zaproszeń, jaką posiadała pani Leroi; tak jak w restauracji nieznanego wielkiego artysty, którego geniusz nie jest wypisany ani w rysach jego nieśmiałej twarzy, ani w niemodnym kroju marynarki, wolałby być bodaj młodym giełdciarzem, najniżej notowanym towarzysko, ale zjadającym śniadanie przy sąsiednim stoliku z dwiema aktorkami i do którego, w usługowej i nieprzerwanej procesji cisną się gospodarz lokalu, kelnerzy, garsoni, pikolaki<sup>286</sup>, nawet kuchciki, wychodzący sznurem z kuchni, aby mu się pokłonić jak w feerii, podczas gdy z innej strony wylazi piwniczny, zakurzony jak jego butelki,

<sup>284</sup>neurastenik — osoba znerwicowana, o nadmiernie pobudzonym układzie nerwowym. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>Amelia Orleańska, właśc. Amelia Maria Ludwika Helena Orleańska (1865–1951) — królowa Portugalii, najstarsza córka Filipa Orleańskiego, hrabiego Paryża. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>pikolo (przestarz., z wł.) a. pikolak (pot.) — chłopak usługujący w restauracji, hotelu itp. [przypis edytorski]

koślawy i olśniony, jak gdyby, idąc z piwnicy, skręcił sobie nogę, zanim wydobyl się na światło.

Trzeba jednakże powiedzieć, że o ile nieobecność pani Leroi w salonie pani de Villeparisis gnębiła panią domu, brak ten przechodził niezauważony przez większość jej gości. Nie mieli pojęcia o wyjątkowej sytuacji pani Leroi, znanej jedynie eleganckiemu światu, i nie wątpili, że przyjęcia pani de Villeparisis były — jak o tym są dziś przekonani czytelnicy jej pamiętników — najświetniejsze w Paryżu.

Za pierwszą wizytą, jaką, rozstawszy się z Robertem, złożyłem pani de Villeparisis (idąc w tym za radą pana de Norpois, daną memu ojcu), zastałem ją w salonie obitym żółtym jedwabiem, gdzie kanapy oraz cudowne fotele z haftami *beauvais* odcinały się różowym, niemal fioletowym kolorem dojrzałych poziomek. Obok portretów Guermantów i Villeparisis wisiały — ofiarowane przez modele — portrety królowej Marii Amelii, królowej Belgów, księcia de Joinville<sup>287</sup>, cesarzowej austriackiej. Pani de Villeparisis, w staroświeckim koronkowym czepeczku (który konserwowała z tym samym inteligentnym zmysłem lokalnej lub historycznej barwy, z jakim hotelarz bretoński, choćby miał klientelę najbardziej paryską, sprytnie konserwuje u kelnerek czepki i szerokie rękawy), siedziała przy stoliku, gdzie, obok pędzli, palety i zaczętej akwareli, stały przed nią w szklankach, w salaterkach, filiżankach, róże mchowe, cynie, kapryfolium, które z powodu napływających w tej chwili gości przestała malować i które robiły wrażenie, iż stroją ładę kwiaciarki, niby na jakimś sztychu z XVIII wieku.

W salonie tym, umyślnie niezbyt ogrzanym, bo margrabina zakatarzyła się, wracając od siebie ze wsi, znajdował się pomiędzy obecnymi archiwista, z którym pani de Villeparisis segregowała rano własnoręczne listy historycznych osobistości, pisane do niej i mające figurować w faksymiliach<sup>288</sup> jako dokumenty w pamiętnikach, które właśnie pisała. Był i pewien historyk, uroczysty i onieśmielony, który dowiedziawszy się że margrabina posiada po przodkach portret księżnej de Montmorency<sup>289</sup>, przyszedł prosić jej o pozwolenie reprodukcji tego portretu w swoim dziele o Frondzie<sup>290</sup>. Do tych gości przybył mój kolega Bloch, obecnie młody autor dramatyczny, na którego margrabina liczyła, że dostarczy gratis artystów na jej najbliższe koncerty. Prawda, iż kalejdoskop socjalny właśnie się obracał i że sprawa Dreyfusa miała zepchnąć Żydów na ostatni szczebel drabiny społecznej. Ale z jednej strony, na próżno cyklon dreyfusistowski szalał; nie z początkiem burzy fale biją z największą wściekłością. Następnie, pani de Villeparisis, pozwalając większości swojej rodziny grzmieć przeciw Żydom, została dotąd całkowicie obca „Sprawie” i nie interesowała się nią. Wreszcie, młody człowiek jak Bloch, którego nikt nie znał, mógł ujść niezauważony, podczas gdy wielcy reprezentacyjni Żydzi byli już zagrożeni.

Bloch nosił teraz bródkę, binokle, długi tużurek i rękawiczkę niby zwój papirusu w ręce. Rumuni, Egipcjanie i Turcy mogą nie cierpieć Żydów. Ale we francuskim salonie różnice między tymi narodami nie są tak uderzające; Izraelita wchodzący do salonu tak jakby się wylaniał z głębi pustyni, z ciałem pochylonym jak u hieny, z przekrzywioną szyją, rozdający wielkie „salamaleki”<sup>291</sup>, doskonale zadowala gust do orientalizmu. Tylko trzeba na to, aby Żyd nie należał do „świata”; inaczej łatwo przybiera wygląd lorda, obyczaje zaś jego „galicyzują się”, tak że krnąbrny nos, rosnąc jak nasturcje w nieoczekiwanych kierunkach, budzi myśl raczej o nosie Maskaryla<sup>292</sup> niż o nosie Salomona<sup>293</sup>. Ale Bloch, jeszcze niewyrobyony w salonowej gimnastyce, nieuszlachetniony skrzyżowaniem z Anglią lub Hiszpanią, pozostał dla miłośnika egzotyzy, mimo europejskiego kostiu-

<sup>287</sup>książę Joinville — Franciszek Orleański (1818–1900), jeden z synów króla Ludwika Filipa I; admirał marynarki wojennej, utalentowany artysta. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>faksymile (z łac. *fac simile*: rób podobne; lm *faksymilia*) — dokładna reprodukcja dokumentu, podpisu lub rysunku. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>księżna Montmorency — Marie-Félicie des Ursins (1600–1666), żona Henriego II de Montmorency; po śmierci męża straconego za zdradę stanu w 1632 zamieszkała w klasztorze. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>Fronda — ruch polityczny we Francji w latach 1648–53, występujący przeciwko absolutyzmowi i rządowi kardynała Mazariniego, pełniącego funkcję pierwszego ministra. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>salamaleki — pozdrowienia; znieksz. *salam alejkum* (ar.): pokój z wami. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>Maskaryl — typ wesołego i beczelnego lokaja w dawnej komedii francuskiej (m.in. w sztuce *Wartogłów* Moliere). [przypis edytorski]

<sup>293</sup>Salomon — biblijny król Izraela, syn Dawida, słynny z mądrości. [przypis edytorski]



mu, równie dziwny i ciekawy jak Żyd z obrazu Decampa<sup>294</sup>. Cudowna potęga rasy, która z głębi wieków pcha przed siebie, aż w dzisiejszy Paryż, w kuluary naszych teatrów, za okienka naszych biur, na pogrzeby, na ulice, nietkniętą falangę<sup>295</sup>, stylizującą nowoczesne uczesanie, wchłaniającą i neutralizującą tużurek, pozostaje w sumie całkiem tożsama z falangą asyryjskich skrybów, którzy, odmalowani w uroczystym stroju na fryzie gmachu w Suzie<sup>296</sup>, bronią bram pałacu Dariusza. (W godzinę później Bloch wyobrażał sobie, że to przez antysemityzm pan de Charlus dopytywał się, czy on ma imię żydowskie, gdy baron uczynił to jedynie przez estetyczną ciekawość i kult barwy lokalnej). Zresztą pojęcie trwałości ras nieściśle oddaje wrażenie, jakie na nas robią Żydzi, Grecy, Persowie, wszystkie te ludy, którym raczej należałoby zostawić ich różnorodność. Znamy ze starożytnych malowideł twarz dawnych Greków; widzieliśmy Asyryjczyków na frontonie pałacu w Suzie. Otóż kiedy gdzieś w towarzystwie spotkamy ludzi Wschodu, należących do takiej czy innej grupy, odnosimy wrażenie, że mamy przed sobą istoty wywołane mocą spirytyzmu. Zналиśmy jedynie powierzchowny obraz; i oto obraz ten nabral głębi, rozpościera się w trzech wymiarach, porusza się. Młoda Greczynka, córka bogatego bankiera, modna w tej chwili, podobna jest do jednej z owych figurantek, które w historycznym i estetycznym wraz balecie symbolizują w żywym ciele sztukę helleńską; a jeszcze w teatrze aparat sceniczny banalizuje te obrazy; natomiast widowisko, jakie nam daje wejście do salonu Turczynki lub Żyda, ożywiając figury, czyni je tym dziwniejszymi, tak jakby chodziło istotnie o postacie wywołane mediumiczną siłą. To dusza (lub raczej to niewiele, do czego się sprowadza — dotąd przynajmniej — dusza w tego rodzaju materializacjach), to dusza oglądana dawniej przez nas jedynie w muzeach, dusza dawnych Greków, dawnych Żydów, wyrwana z życia nieznaczącego i transcendentalnego zarazem, zdaje się wykonywać wobec nas tę zdumiewającą mimikę. W młodej Greczynce, która się nam wymyka, na próżno chcielibyśmy uściskać postać podziwianą niegdyś na jakimś wazonie. Miałem wrażenie, że gdybym w świetle salonu pani de Villeparisis sfotografował Blocha, klisze dałyby ten sam obraz Izraela, niepokojący tak, jakby się nie wyłaniał z ludzkości, budzący rozczarowanie, bo mimo wszystko nazbyt podobny jest do ludzkości — obraz typowy dla fotografii z seansów spirytystycznych. Nawet, biorąc ogólniej, błahość słów wygłaszanych przez osoby, pośród których żyjemy, daje nam wrażenie czegoś nadprzyrodzonego — w tym naszym biednym codziennym świecie, gdzie nawet genialny człowiek, od którego spodziewamy się, skupieni koło niego jak koło wirującego stolika, tajemnicy nieskończoności, wypowiada tylko te słowa — te same, które właśnie wyszły z ust Blocha: „Proszę uważać na mój cylinder”.

— Mój Boże, ministrowie, mój drogi panie!... — mówiła właśnie pani de Villeparisis, zwracając się specjalnie do mego dawnego kolegi i nawiązując nić konwersacji, którą przerwało moje wejście. — Nikt wówczas nie chciał przyjmować ministrów. Choć byłam jeszcze bardzo mała, przypominam sobie, jak król prosił mego dziadka, aby zaprosił pana Decazes<sup>297</sup> na redutę<sup>298</sup>, gdzie ojciec miał tańczyć z księżną de Berry. „Zrobisz mi przyjemność, Florymondzie”, mówił król. Dziadek, który był trochę głuchy, usłyszawszy „de Castries”, uważał prośbę za zupełnie naturalną. Kiedy zrozumiał, że chodzi o pana Decazes, miał chwilę buntu, ale skłonił się i napisał tegoż samego wieczora do pana Decazes, błagając, aby mu uczynił tę łaskę i zaszczyt i przyszedł do niego na bal w przyszłym tygodniu. Bo ludzie byli grzeczni, drogi panie, w owym czasie; a pani domu nie poprzestałaby na tym, aby przesłać komuś bilet wizytowy, dopisując ręcznie: „filiżanka herbaty” albo

<sup>294</sup>Decamps, Alexandre-Gabriel (1803–1860) — francuski malarz i grafik, tworzący romantyczne kompozycje o tematyce orientalnej, inspirowane podróżami do Grecji i Turcji. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>falanga — w staroż. Grecji zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>Suza — staroż. miasto w ob. Iranie, od VI w. p.n.e. stolica administracyjna państwa perskiego; znana m.in. z ruin kompleksu pałacowego króla Dariusza I Wielkiego (ok. 550–485 p.n.e.). Autor błędnie powtarza, że na fryzach w Suzie przedstawieni są Asyryjczycy (których wizerunki są znane z przedstawień w miastach asyryjskich (Niniwie, Nimrud, Kalchu itd.), odkrytych w XIX w., położonych w płn. Mezopotamii, setki kilometrów dalej. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>Decazes, Élie de (1780–1860) — francuski polityk, faworyt króla Ludwika XVIII, premier (1819–1820). [przypis edytorski]

<sup>298</sup>reduta (daw.) — zabawa towarzyska, łącząca bal (często maskowy) oraz grę w karty dla panów i plotki oraz swatanie par dla pań. [przypis edytorski]

„herbata tańcząca”<sup>299</sup>, albo „herbata z muzyką”. Ale o ile znano grzeczność, znano i impertynencję. Pan Decazes przyjął zaproszenie, ale w wilię<sup>300</sup> zawiadomiono wszystkich, że dziadek, czując się cierpiący, odwołał redutę. Był posłuszny królowi, ale nie oglądał u siebie na balu pana Decazes... Tak, proszę pana, przypominam sobie bardzo dobrze pana Molé; był to człowiek wielkiego dowcipu (dał tego dowód, przyjmując — tak jak przyjął — pana de Vigny w Akademii), ale był bardzo uroczysty; widzę go jeszcze, jak schodzi na obiad u siebie w domu z cylindrem w ręce.

— Och, to bardzo ewokacyjne<sup>301</sup> dla epoki dość żałośnie filisterskiej<sup>302</sup>; bo to był z pewnością powszechny zwyczaj, aby mieć kapelusz w ręku u siebie w domu — rzekł Bloch, pragnąc skorzystać z tej tak rzadkiej sposobności poinformowania się u naocznego świadka o właściwościach arystokratycznego życia z dawnych epok; podczas gdy archiwista, rodzaj przygodnego sekretarza margrabin, obejmował ją rozczulonym spojrzeniem, zdając się nam mówić: „Nadzwyczajna kobieta, wszystko wie, wszystkich znała, możecie ją pytać, o co chcecie, bajeczna jest”.

— Ale nie — odparła pani de Villeparisis, przysuwając bliżej szklankę pełną kwiatów, które za chwilę miała znów zacząć malować — to był po prostu zwyczaj pana Molé. Nigdy nie widziałam, aby ojciec miał kapelusz u siebie w domu, wyjąwszy, rozumie się, kiedy przychodził król, skoro bowiem król jest wszędzie u siebie, gospodarz domu staje się prostym gościem we własnym salonie.

— Arystoteles<sup>303</sup> powiada nam w rozdziale drugim... — zaryzykował pan Adam, historyk Frondy, ale tak nieśmiało, że nikt tego nie zauważył. Trapiiony od kilku tygodni nerwową bezsennością, opierającą się wszelkiemu leczeniu, nie kładł się już wcale i zmęczony zmęczeniem wychodził tylko wtedy, kiedy jego prace tego wymagały. Niezdolny podejmować często tych wypraw, tak prostych dla innych, a jego kosztujących tyle co wyprawa na Księżyc, konstatawał ze zdziwieniem, że życie większości ludzi nie jest stale zorganizowane w tym sensie, aby zapewnić maksimum wydajności nagłym zrywom jego energii. Często zastawał zamkniętą bibliotekę, do której wybrał się, skupiwszy całą siłę woli i w tużurku niby człowiek z Wellsa<sup>304</sup>. Szczęściem, zastał panią de Villeparisis w domu i miał ujrzeć portret.

Bloch przerwał mu w pół zdania.

— Doprawdy — rzekł, odpowiadając na słowa pani de Villeparisis w przedmiocie ceremoniału wizyt królewskich — absolutnie tego nie wiedziałem (jak gdyby to było dziwne, że on tego nie wiedział).

— À propos tego rodzaju wizyt, czy pan wie, na jaki głupi koncept wpadł wczoraj mój siostrzeniec Błażej? — spytała archiwisty pani de Villeparisis. — Zamiast się zaanonsować, kazał mi powiedzieć, że przyszła królowa szwedzka.

— Cha, cha! tak sobie: „królowa szwedzka”, ni z tego ni z owego. Dobry kawał! — parsknął Bloch, podczas gdy historyk uśmiechnął się z majestatyczną nieśmiałością.

— Zdziwiłam się trochę, bo wróciłam ze wsi dopiero od kilku dni; chcąc mieć trochę spokoju, prosiłam, aby nikomu nie mówiono, że jestem w Paryżu; toteż zastanawiałam się, jakim cudem królowa już wie o moim powrocie — odparła pani de Villeparisis, pograżając swoich gości w zdumieniu tym, że wizyta królowej szwedzkiej nie jest dla gospodyni domu sama przez się niczym anormalnym.

Niewątpliwie pani de Villeparisis, która przez całe rano porządkowała z archiwistą dokumenty do swoich pamiętników, w tej chwili bezwiednie próbowała ich działania na przeciętną publiczność — dającą skrót tej, z której będą się kiedyś składali jej czytelnicy. Salon pani de Villeparisis nie był salonem naprawdę eleganckim; na to margrabina przyjmowała zbyt wiele „pań miasta”, a w zamian brakło tam niejednej ze świetnych dam,

<sup>299</sup>herbata tańcząca (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>wilia (daw.) — wigilia, przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>ewokacyjny (książk.) — przedstawiający lub wywołujący wspomnienia. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>filisterski — cechujący filistrów, tj. mieszcuchów o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>Arystoteles Arystoteles (384–322 p.n.e.) — grecki filozof i przyrodnik, najwyszczehroniejszy z uczonych starożytnych, osobisty nauczyciel Aleksandra Wielkiego. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>Wells, George Herbert (1866–1946) — pisarz brytyjski, jeden z pionierów fantastyki naukowej. [przypis edytorski]

które zdołała ściągnąć do siebie pani Leroi; ale nikt by się tego nie domyślił z jej pamiętników. Tam niektóre mniej świetne stosunki autorki nikną, bo nie ma sposobności ich cytować; nieobecnych zaś nie czuje się braku, bo na przestrzeni, siłą rzeczy ograniczonej, jaką ogarniają te pamiętniki, może figurować niewiele osób; jeżeli więc te osoby należą do rodów monarszych lub figur historycznych, ostateczne wrażenie pamiętnika na publiczności sięga maksimum wykwintu. Zdaniem pani Leroi, salon pani de Villeparisis był czymś trzeciorzędnym, i ten sąd pani Leroi bolał panią de Villeparisis. Ale nikt już prawie nie wie, kim była pani Leroi; jej sąd ulotnił się, a salon pani de Villeparisis, gdzie bywała królowa szwedzka, gdzie bywali książę d'Aumale<sup>305</sup>, książę de Broglie<sup>306</sup>, Thiers<sup>307</sup>, Montalambert<sup>308</sup>, biskup Dupanloup<sup>309</sup>, przetrwa jako jeden z najświetniejszych salonów XIX wieku dla tej potomności, która nie zmieniła się od czasu Homera i Pindara<sup>310</sup> i dla której godną zazdrości rangą jest wysokie urodzenie — królewskie lub omal że królewskie — przyjaźń królów, wodzów narodu, znamienitych mężów.

Otóż wszystko to miała pani de Villeparisis po trosze w swoim obecnym salonie i w swoich wspomnieniach, czasem lekko retuszowanych, przy których pomocy przedłużała go w przeszłość. Następnie pan de Norpois, niezdolny odbudować swojej przyjaciółce prawdziwej sytuacji, przyprowadzał jej w zamian zagranicznych lub francuskich mężów stanu, którzy go potrzebowali i którzy wiedzieli, że jedynym skutecznym sposobem zyskania jego łask jest bywać u pani de Villeparisis. Może i pani Leroi знаła te europejskie znakomitości. Ale jako kobieta miła i unikająca tonu sawantki, strzegła się mówić o kwestii wschodniej z premierami, zarówno jak o istocie miłości z powieściopisarzami i filozofami. „Miłość? — odparła raz pretensjonalnej damie, która spytała jej: »Co pani myśli o miłości?«. — Miłość uprawiam często, ale nie mówię o niej nigdy”. Kiedy pani Leroi miała u siebie owe świeczniki literatury i polityki, poprzestawała, jak księżna de Guermites, na tym, aby im urządzić partyjkę pokera. Często woleli to niż programowe rozmowy na wielkie tematy, do jakich ich zmuszała pani de Villeparisis. Ale te rozmowy, może śmieszne w towarzystwie, dostarczyły *Wspomnieniom* pani de Villeparisis kapitalnych ustępów, dysertacji<sup>311</sup> politycznych, które dobrze robią w pamiętnikach, jak w tragediach Corneille’a. Zresztą jedynie salony pań de Villeparisis mogą przejść do potomności, bo panie Leroi nie umieją pisać, a choćby umiały, nie miałyby na to czasu. I jeżeli żyłka literacka pań de Villeparisis jest przyczyną lekceważenia ze strony pań Leroi, wzgarda znowuż pań Leroi osobliwie wspomaga żyłkę literacką pań de Villeparisis, zostawiając sawantkom wczasy, jakich wymaga kariera literacka. Bóg, który chce, aby istniało trochę dobrze napisanych książek, podsyca w tym celu wzgardę w sercu pań Leroi, bo wie, że gdyby panie Leroi zapraszały na obiady panie de Villeparisis, te rzuciłyby natychmiast pióro i kazałyby zaprzęgać na ósmą.

W pewnym momencie weszła wolnym i uroczystym krokiem stara dama słusznego wzrostu, która pod odwiniętym słomkowym kapeluszem obnosiła monumentalną białą fryzurę *à la Marie-Antoinette*<sup>312</sup>. Nie wiedziałem wówczas, że to jest jedna z trzech kobiet, które można było jeszcze obserwować w paryskim towarzystwie i które, jak pani de Villeparisis, mimo iż pochodząc z wielkiego rodu, skazane były na towarzystwo samych odpadków swojego świata. Racje tego ostracyzmu gubiły się w mroku lat; mógłby coś o nich powiedzieć jedynie jakiś elegant współczesnej im epoki. Każda z tych dam miała swoją „księżnę de Guermites”, swoją świetną siostrzenicę, która składała jej powinne wizyty, ale żadna nie zdołałaby ściągnąć do siebie „księżnej de Guermites” dwóch tam-

<sup>305</sup> Henryk Orleański, książę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>306</sup> Broglie, Achille Charles de (1785–1870) — francuski książę, polityk; premier (1830 i 1835–1836), przywódca prawicy w Zgromadzeniu Narodowym. [przypis edytorski]

<sup>307</sup> Thiers, Louis Adolphe (1797–1877) — francuski historyk i polityk, wsławiony stłumieniem komuny paryskiej. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> Montalambert, Charles de (1810–1870) — francuski pisarz, historyk i działacz katolicki, inicjator ruchu katolików liberalnych. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> Dupanloup, Félix (1802–1878) — biskup francuski, filozof. [przypis edytorski]

<sup>310</sup> Pindara (ok. 520–ok. 438 p.n.e.) — wybitny poeta grecki, twórca liryki chóralnej, znany gł. z utworów na cześć zwycięzców igrzysk. [przypis edytorski]

<sup>311</sup> dysertacja (daw.) — rozumowanie, dyskusja, roztrząsanie jakiegoś problemu, badanie; dziś: rozprawa naukowa. [przypis edytorski]

<sup>312</sup> *à la Marie-Antoinette* (fr.) — na wzór Marii Antoniny. [przypis edytorski]

tych. Pani de Villeparisis żyła bardzo blisko z tymi trzema damami, ale ich nie lubiła. Może ich położenie, dość podobne do jej własnego losu, odbijało obraz, który nie był jej miły. Następnie te skwaśniałe sawantki, starając się liczbą „saynetek”<sup>313</sup> odegranych pod swoim patronatem stworzyć iluzję salonu, rywalizowały z sobą, niemal walczyły o byt, ile że majątek każdej z nich, nadwreżony w ciągu burzliwej egzystencji, zmuszał je do liczenia się z groszem, do korzystania z gratisowego udziału jakiegoś artysty. Co więcej, dama z fryzurą *à la Marie-Antoinette*, ilekroć widziała panią de Villeparisis, nie mogła się powstrzymać od myśli, że księżna de Guermites nie przychodzi na jej piątki. Pocięchą jej było, że piątków tych nie opuszcza nigdy — jako dobra kuzynka — księżna de Poix, która była jej „księżną de Guermites” i która znowuż nigdy nie bywała u pani de Villeparisis, mimo iż będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de Guermites.

Jednakże między pałacem na quai Malaquais a salonami przy ulicach du Tournon, de la Chaise i du Faubourg Saint-Honoré węzeł równie silny jak znienawidzony łączył trzy upadłe bóstwa, o których bardzo rad byłbym się dowiedzieć, przeglądając jakiś mitologiczny słownik wielkiego świata, co za awanturka miłosna, co za świętokradzki wybryk sprowadziły tę karę. To samo świetne pochodzenie, ten sam obecny upadek odgrywały może dużą rolę w konieczności, która im kazała wraz nie cierpieć się i przestawać z sobą. Następnie, każda z nich znajdowała w osobach swoich przyjaciółek wygodny sposób świadczenia grzeczności swoim gościom. Jakimż cudem goście ci nie czuliby się w najbardziej zamkniętym świecie, kiedy ich przedstawiono wysoko utytułowanej damie, której siostra zaślubiła księcia de Sagan czy de Ligne! Tym bardziej że w dziennikach o wiele więcej mówiono o tych rzekomych salonach niż o prawdziwych. Nawet eleganccy siostrzeńcy (pierwszy Saint-Loup), kiedy jakiś kolega prosił ich, aby go wprowadzili w świat, mówili: „Zaprowadzę cię do mojej ciotki Villeparisis, to interesujący salon”. Wiedzieli zwłaszcza, że to im przysporzy mniej trudu niż wprowadzić owych przyjaciół do wykwiutnych siostrzenic lub szwagierek tych dam. Ludzie bardzo wiekowi, młode kobiety, które dowiedziały się tego od nich, powiadali mi, że jeżeli tych starszych dam nie przyjmowano, to dla nadmiernej swobody ich życia; na moją zaś obiekcję, że to nie jest przeszkoda do dobrego tonu, odpowiedziano mi, że to było coś przechodzącego wszystkie znane dziś proporcje. Wyuzdanie tych uroczystych dam, które siedziały wyprostowane, stawało się w ustach osób świadomych rzeczy czymś, czego bym sobie nie zdołał wyobrazić, na miarę przedhistorycznych epok mamuta. Krótko mówiąc, te trzy Parki<sup>314</sup> o białych, niebieskich lub różowych włosach, przyczyniły się do ruiny nieprawdopodobnej ilości mężczyzn. Myślałem, że dzisiejsi ludzie wyolbrzymiają przywary owych bajecznych czasów, jak Grecy stwarzający Ikara, Tezeusza, Herkulesa z ludzi mało odmiennych od tych, którzy ubóstwili te postacie po wielu latach. Ale błędy danej istoty podsumowuje się dopiero wtedy, kiedy ta osoba nie bardzo jest już w stanie ich powtarzać; z rozmiarów kary socjalnej — która zaczyna się spełniać i którą jedynie stwierdzamy — oceniamy, wyobrażamy sobie, przesadzamy rozmiar popełnionej zbrodni. W tej galerii symbolicznych figur, jaką jest „świat”, kobiety naprawdę lekkie, kompletne Messaliny<sup>315</sup>, mają zawsze uroczystą postać damy co najmniej siedemdziesięcioletniej, wyniosłej, która przyjmuje tyle, ile może, ale nie tych, których by chciała; u której nie chcą być kobiety mające swoje grzeszki; jest to dama, której nieodmiennie papież daje „złotą różę” i która czasami napisała o młodości Lamartine’a<sup>316</sup> dzieło uwieńczone przez Akademię Francuską.

— Dzień dobry, Alix — rzekła pani de Villeparisis do damy z białą fryzurą *à la Marie-Antoinette*, która to dama objęła przenikliwym okiem zebranie, aby sprawdzić, czy nie ma w tym salonie jakiegoś egzemplarza, który mógłby się nadać do jej salonu, a który w tym wypadku powinna odkryć sama, bo pani de Villeparisis, nie ma co o tym wątpić, umiałaby go przed nią przebiegle ukryć. I tak, pani de Villeparisis strzegła się pilnie przedstawić starej damie Blocha, z obawy, aby nie wystawił w salonie przy quai

<sup>313</sup>*saynetka* (neol.; z fr. *saynète*) — scenka; komedijka. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*Parki* (mit. rzym.) — trzy boginie przeznaczenia, przędące i przecinające nić ludzkiego losu. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>*Messalina, Valeria* (ok. 17–40) — trzecia żona rzym. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>*Lamartine, Alphonse de* (1790–1869) — francuski poeta, polityk liberalny; tradycyjnie uznawany za prekursora francuskiego romantyzmu; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

Malaquais tej samej „saynetki” co u niej. Było to zresztą jedynie wet za wet. Bo w wilię tego dnia pani Ristori<sup>317</sup> deklamowała w salonie starej damy, baczącej pilnie, aby pani de Villeparisis, której zwędziła włoską artystkę, usłyszała o tym aż po fakcie. Iżby się o tym nie dowiedziała z gazet i nie obraziła się, stara dama przyszła jej to opowiedzieć, jakoby w niewinności ducha.

Pani de Villeparisis, uważając, że moja prezentacja nie grozi tym, co znajomość z Blochem, przedstawiła mnie fałszywej Marii Antoninie. Ta, starając się możliwie najmniej poruszać, aby na przekór wiekowi ocalić ową linię bogini Coysevoxa<sup>318</sup>, która przed wielu laty czarowała wytworną młodzież, a którą quasi-poeci opiewali teraz w lichych rymach — przybrawszy zresztą styl wyniosłej sztywności, wspólnej osobom, które zły los skazał na ustawiczne robienie awansów — skinęła lekko głową z lodowatym majestatem, po czym, obracając się w inną stronę, przestała się mną zajmować, tak jakbym nie istniał. Zachowanie się jej miało podwójną intencję; zdawało się mówić pani de Villeparisis: „Widzisz, że nie zależy mi na jednym stosunku więcej i że młodzi ludzie — z żadnego punktu widzenia, ty jaszczurko — nie interesują mnie”. Ale kiedy, w kwadrans potem, owa dama wychodziła, wówczas korzystając z zamętu, szepnęła mi, abym przyszedł w piątek do jej łoża, gdzie spotkam jedną ze starych dam, której wspaniałe nazwisko — była zresztą z domu Choiseul — zrobiło na mnie kolosalne wrażenie.

— Proszę pana, coś mi się widzi, że pan chce pisać o księżnej de Montmorency — rzekła do historyka Frondy pani de Villeparisis, owym szorstkim tonem, jakim bezwiednie chmurzyła się jej uprzejmość, przez pomarszczony dąs, przez fizjologiczny żal starości, zarówno jak przez afektację w podrabianiu chłopskiego niemal tonu dawnej arystokracji. — Pokażę panu jej portret, oryginał kopii znajdującej się w Luwrze.

Wstała, składając pędzle obok kwiatów. Fartuszek, którym była przepasana i który nosiła, aby się nie powalać farbami, podkreślał jeszcze charakter niemal wieśniaczy, jaki jej dawały wielkie okulary i czepek, stanowiąc kontrast z elegancją służby, kamerdynera wnoszącego herbatę i ciasteczka, lokaja w liberii, na którego margrabina zadzwoniła, aby oświetlił portret księżnej de Montmorency, ksieni<sup>319</sup> jednego z najświetniejszych klasztorów wschodnich kresów Francji. Wszyscy wstali.

— Co jest dosyć zabawne — rzekła pani de Villeparisis — to że w owych klasztorach, gdzie nasze cioteczne babki bywały przeoryszami, nie przyjęto by córek króla Francji. To były kapituły bardzo zamknięte.

— Nie przyjęto by córek króla Francji, a to czemu? — spytał zdumiony Bloch.

— Ależ temu, że dom francuski nie miał dosyć pokoleń szlacheckich, od czasu jak popełnił mezalians.

Zdumienie Blocha rosło.

— Dom francuski mezalians? Z kim?

— No, z Medyceuszami — odparła najnaturalniej pani de Villeparisis. — Piękny portret, nieprawdaż, i doskonale zachowany — dodała.

— Droga — rzekła dama uczesana *à la Marie-Antoinette* — przypominasz sobie, że kiedyś ci przyprowadziła Liszta<sup>320</sup>, Liszt powiedział, że ten portret to kopia.

— Gotowa jestem zawsze schylić głowę przed opinią Liszta w muzyce, ale nie w malarstwie. Zresztą on już był ramol i nie przypominam sobie, aby to kiedy powiedział. Ale to nie ty mi go przyprowadziłaś; jadłam z nim dwadzieścia razy obiad u księżnej de Sayn-Wittgenstein.

Strzał Alix spudłował; zamilkła, stała wyprostowana, bez ruchu. Twarz jej, pokryta grubą warstwą pudru, robiła wrażenie twarzy z kamienia. Ze swoim szlachetnym profilem była podobna do spiącej się bogini w parku, na trójkątnym i omszonym cokole okrytym mantylką<sup>321</sup>.

— A! jeszcze jeden piękny portret — rzekł historyk.

Drzwi się otwarły, weszła księżna de Guermentes.

Król, Szlachcic, Krew,  
Obyczaje

<sup>317</sup>Ristori, *Adelaide* (1822–1906) — włoska aktorka, wybitna tragiczka swojej epoki. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>Coysevox, *Antoine* (1640–1720) — francuski rzeźbiarz barokowy. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>ksieni — przełożona klasztoru, przeorysza. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>Liszt, *Ferenc* (1811–1886) — kompozytor i pianista węgierski epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>mantylka — szal, często ozdobny, noszony daw. przez kobiety na ramionach, a niekiedy również okrywający głowę. [przypis edytorski]

— Jak się masz — rzekła jej bez skinienia głową pani de Villeparisis, wyjmując z kieszeni fartucha rękę, którą podała nowo przybyłej; po czym natychmiast przestała się nią zajmować, zwracając się do historyka:

— To portret księżnej de la Rochefoucauld<sup>322</sup>.

Młody służący o śmiałej minie i twarzy uroczej (ale — co przydawało jej doskonałości — nieco zuchwalej, przy czym zaczerwieniony nieco nos i lekko zadrażniona skóra dawały złudzenie, że zachowały jakby ślad dłuta rzeźbiarza) wszedł, niosąc bilet na tacy.

— To ten pan, który już kilka razy pytał o panią margrabinę.

— Powiedziałeś mu że przyjmuję?

— Słyszał głosy.

— Więc dobrze, niech będzie, wpuść. To jakiś pan, którego mi przedstawiono — rzekła pani de Villeparisis. — Oświadczył, że bardzo by pragnął złożyć mi wizytę. Nigdy nie upoważniłam go do tego. Ale, ostatecznie, już piąty raz się fatyguję, nie trzeba ludzi urażać. Panowie — rzekła do mnie i do historyka Frondy — przedstawiam panom moją siostrzenicę, księżną de Guermentes.

Historyk skłonił się głęboko (tak samo ja) i jak gdyby przypuszczał, że jakaś serdeczna wymiana słów powinna nastąpić po tym ukłonie, oczy jego zabyły i gotował się otworzyć usta, kiedy go ostudził wygląd pani de Guermentes. Księżna skorzystała z autonomii swojego torsu, aby go rzucić naprzód z przesadną grzecznością i cofnąć go ściśle na dawne miejsce, nie zdradzając twarzy ani spojrzeniem, aby zauważyła, że ktoś znajduje się na wprost niej; wydawszy lekkie westchnienie, poprzestała na stwierdzeniu nikłości wrażenia odniesionego z osoby zarówno mojej, jak z osoby historyka, poruszając skrzydłami nosa z precyzją, która świadczyła o absolutnej inercji jej niezatrudnionej uwagi.

Niewczesny gość wszedł, krocząc prosto ku pani de Villeparisis z naiwną i żarliwą miną: był to Legrandin.

— Dziękuję pani bardzo, że mnie pani raczyła przyjąć — rzekł, kładąc nacisk na słowie „bardzo” — przyjemność, jakiej pani użycza staremu samotnikowi, jest czymś tak rzadkim i subtelnym, iż zapewniam panią, że oddziwięk, który...

Urwał, spostrzegając mnie.

— Pokazywałam właśnie panom piękny portret księżnej de la Rochefoucauld, żony autora *Maksym*; od wieków jest w rodzinie.

Pani de Guermentes przywitała się z Alix, usprawiedliwiając się, że tego roku, jak innych, nie mogła być u niej.

— Miałam o pani wiadomości przez Magdalenę — dodała.

— Była u mnie dziś na śniadaniu — rzekła markiza z quai Malaquais, myśląc z satysfakcją, że nigdy pani de Villeparisis nie mogłaby się pochwalić tym samym.

Tymczasem ja rozmawiałem z Blochem. Bojąc się — wedle tego, co mi mówiono o odmianie jego ojca w stosunku do niego — aby nie zazdrościł mojej egzystencji, wyraziłem przeświadczenie, że jego życie musi być szczęśliwsze. Powiedziałem to po prostu przez uprzejmość. Ale taka uprzejmość łatwo przekonuje o ich przewadze ludzi bardzo próżnych lub budzi w nich chęć przekonania innych.

— Tak, w istocie, pędzę życie wręcz rozkoszne — rzekł Bloch z wyrazem upojenia. — Mam trzech serdecznych przyjaciół, nie życzyłbym sobie ani jednego więcej, mam uroczą kochankę, jestem nieskończenie szczęśliwy. Rzadki jest śmiertelny, któremu by ojciec Zeus<sup>323</sup> użyczył tyle szczęśliwości.

Przypuszczam, że Bloch chciał się zwłaszcza pochwalić i obudzić we mnie zazdrość. Może była też jakaś chęć oryginalności w jego optymizmie. Widoczne było, że nie chce odpowiadać tymi banalnościami co wszyscy („Och, to drobiazg” itd.), kiedy na moje pytanie, jak się udał wyprawiony przez niego wieczorek tańczący, na którym nie mogłem być, Bloch odpowiedział spokojnie i obojętnie, tak jakby chodziło o kogoś innego:

— Ależ tak, to było bardzo ładne, nad wyraz udane. To było naprawdę urocze.

— To, co nam pani mówi, interesuje mnie nieskończenie — rzekł Legrandin do pani de Villeparisis. — Właśnie sobie powiadałem kiedyś, że pani ma wiele z autora

<sup>322</sup>Księżna de la Rochefoucauld — Andrée de Vivonne, żona (od 1628) księcia François de la Rochefoucauld (1613–1680), francuskiego pisarza i filozofa, znanego ze swoich pesymistycznych aforyzmów. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>Zeus (mit. gr.) — najwyższy bóg, władca nieba, bogów i ludzi, pan piorunów. [przypis edytorski]

Maksym w czystości chwytu, coś, co bym określił dwoma sprzecznymi terminami: lapidarna zwinność i nieśmiertelna błyskawiczność. Chętnie bym dziś notował, co pani mówi; ale zapamiętam. To są rzeczy (wedle wyrażenia, zdaje mi się, Jouberta<sup>324</sup>) przyjazne pamięci. Nie czytała pani nigdy Jouberta? Och! tak byłaby mu się pani podobała! Pozwolę sobie dziś jeszcze przesłać pani jego dzieła; dumny będę, że mogę pani sprezentować jego inteligencję. Nie posiadał pani siły, ale miał też dużo wdzięku.

Byłbym chciał zaraz przywitać się z panem Legrandin, ale wciąż trzymał się ode mnie możliwie najdalej, zapewne w tej nadziei, że nie dosłyszę bardzo wyszukanych pochlebstw, jakimi bez przerwy i pod lada pretekstem okadzał panią de Villeparisis.

Wzruszyła z uśmiechem ramionami, tak jakby on sobie z niej żartował, i obróciła się do historyka:

— A to jest sławna Maria de Rohan, księżna de Chevreuse, z pierwszego męża księżna de Luynes.

— Moja droga, pani de Luynes przywodzi mi na myśl Yolandę; zaszła właśnie do mnie wczoraj; gdybym wiedziała, że masz wieczór wolny, byłabym posłała po ciebie. Pani Ristori, która przyszła niespodzianie, wygłosiła w obecności autorki wiersze królowej Carmen Sylvy<sup>325</sup>; to było coś cudownego!

„Co za perfidia! — pomyślała pani de Villeparisis. — To z pewnością o tym rozmawiała kiedyś po cichu z panią de Beaulaincourt i z panią Chaponay”.

— Byłam wolna, ale nie byłabym przyszła — odparła — słyszałam panią Ristori za jej dobrych czasów; teraz to już jest ruina. Przy tym nie cierpię wierszy Carmen Sylvy. Ristori była tu raz, przyprowadzona przez księżną d'Aoste, aby powiedzieć jedną pieśń z *Piekła* Danta<sup>326</sup>. Oto w czym jest niezrównana.

Alix zniosła cios bez drgnienia. Pozostała jak z marmuru. Spojrzenie jej było przenikliwe i puste, nos szlachetnie orli. Ale jeden z jej policzków łuszczył się. Lekkie, dziwne, zielonorożowe vegetacje pokrywały podbródek. Jedna zima więcej może by ją zwała.

— O, proszę pana, jeżeli pan lubi malarstwo, niech pan spojrzy na portret pani de Montmorency — rzekła margrabina do pana Legrandin, aby przerwać nową falę komplementów.

Korzystając z tego, że Legrandin się oddalił, pani de Guermantes wskazała go ciotce ironicznym i pytającym spojrzeniem.

— To pan Legrandin — rzekła półgłosem pani de Villeparisis — ma siostrę, która się nazywa pani de Cambremer, co ci z pewnością mówi nie więcej niż mnie.

— Jak to, ależ ja ją doskonale znam! — wykrzyknęła pani de Guermantes, zaslaniając sobie usta ręką. — Lub raczej nie znam jej, ale nie wiem, co napadło Błażeja, który spotyka licha wie gdzie jej męża, aby powiedzieć tej grubej babie, żeby się do mnie wybrała z wizytą. Nie umiem opisać, co to była za wizyta! Opowiedziała mi, że była w Londynie, wyliczyła wszystkie obrazy z British<sup>327</sup>. Jak mnie ciocia widzi, wychodząc od cioci, idę rzucić bilet temu potworowi. I niech ciocia nie myśli, aby to była najłatwiejsza rzecz; bo pod pozorem, że jest umierająca, ona nieprzerwanie siedzi w domu, i czy się przyjdzie o siódmej wieczór, czy o dziewiątej rano, zawsze jest gotowa uraczyć człowieka plackiem z truskawkami. Ale rozumie się, tak, to potwór — potwierdziła pani de Guermantes na pytające spojrzenie ciotki. To osoba niemożliwa: ona mówi „piszczyk”, słowem, rzeczy tego rodzaju.

— Co to jest „piszczyk”? — spytała pani de Villeparisis siostrzenicy.

— Ależ ja nie mam pojęcia! — wykrzyknęła księżna z udanym oburzeniem. — Nie chcę wiedzieć. Ja nie mówię tym językiem.

I widząc, że ciotka naprawdę nie wie, co znaczy „piszczyk”, aby mieć przyjemność okazania, że jest w równym stopniu wykształcona jak purystka, i aby zadrwić z ciotki, za-

<sup>324</sup>Joubert, Joseph (1754–1824) — francuski moralista i eseista, znany głównie ze swoich *Pensées* (Myśli, 1838). [przypis edytorski]

<sup>325</sup>Carmen Sylva — literacki pseudonim królowej Rumunii Elżbiety (1843–1916). [przypis edytorski]

<sup>326</sup>Danta (daw.) — dziś popr. forma B.: Dantego; Dante Alighieri (1265–1321): filozof i polityk, jeden z najwybitniejszych poetów włoskich, autor poematu *Boska Komedia*, uważanego za szczytowe osiągnięcie średnio-wiecznej literatury włoskiej, przedstawiającego wizję wędrowki poety przez trzy światy pozagrobowe, Piekło, Czyściec i Raj. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>British — tu: British Museum, Muzeum Brytyjskie w Londynie, największe muzeum Wielkiej Brytanii i jedno z największych na świecie. [przypis edytorski]

drwiwszy poprzednio z pani de Cambremer, rzekła na wpół ze śmiechem, powściąganym przez resztki udanego złego humoru:

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą; „piszczyk” to jest pisarz w sensie pejoratywnym. Ale to jest ohydne słowo. To może język skrzyć. Nigdy mnie nikt nie zmusi, abym to wymówiła. Jak to — dodała — to jest jej brat? Jeszcze go nie zlokalizowałam. Ale, w gruncie, to jest rzecz do pojęcia. Ona ma tę samą płaskość dywanika sprzed łóżka i te same zasoby intelektualne okrężnej biblioteczki. Jest równie nadskakująca i równie nudna. Zaczynam się oswajać z ideą tego pokrewieństwa.

— Usiądź, zaraz nam dadzą herbaty — rzekła pani de Villeparisis do księżnej. — Obsłuż się sama, ty nie potrzebujesz oglądać portretów swoich prababek, znasz je równie dobrze jak ja.

Niebawem pani de Villeparisis usiadła i wzięła się do malowania. Wszyscy zbliżyli się do niej; skorzystałem z tego, aby podejść do pana Legrandin. Nie widząc nic występnego w jego obecności u pani de Villeparisis, rzekłem, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo go zranię, i budząc w nim zarazem przeświadczenie, że go zranił rozmyślnie:

— I cóż, proszę pana, czuję się niemal rozgrzeszony z obecności swojej w salonie, skoro pana w nim spotykam.

Pan Legrandin wywnioskował z tych słów (taki przynajmniej sąd wydał o mnie w kilka dni później), że jestem szczególnie źle ladaco, znajdujące rozkosz w tym, aby komuś dokuczyć.

— Mógłby pan być na tyle grzeczny, aby się ze mną wprzód przywitać — odparł, nie podając mi ręki, wścickłym i trywialnym głosem, którego w nim nie podejrzewałem i który, nie będąc w racjonalnym związku z tym, co Legrandin mówił zazwyczaj, zdradzał inny, bardziej bezpośredni i uderzający, związek z czymś, co odczuwał. A ponieważ jesteśmy zdecydowani ukryć na zawsze to, co czujemy, nigdy nie pomyśleliśmy o sposobie, w jaki byśmy to wyrazili. I nagle daje się w nas słyszeć, niby potworna i nieznaną bestia, zwierzę, którego głos może wręcz przestraszyć kogoś, kto przejmuje to mimowolnie, pośrednie i prawie że nieodparte zwierzenie naszej wady lub przywary; przestraszyć tak, jak przestraszyłoby nagle, pośrednio i dziwacznie wyrażone wyznanie zbrodniarza, niezdolnego się wstrzymać od przyznania się do morderstwa, o któregoś go nie posądzali. Zapewne, wiedziałem, że idealizm — nawet subiektywny — nie przeszkodzi wielkiemu filozofowi być łakomym lub zabiegać wytrwale o fotel w Akademii. Ale doprawdy Legrandin niepotrzebnie przypominał tak często, że jest „z innej planety”, skoro wszystkie konwulsyjne odruchy jego gniewu lub uprzejmości płynęły z chęci dobrego uplasowania się na tej.

— Oczywiście, kiedy mnie ktoś nęka dwadzieścia razy z rzędu, aby mnie gdzieś ściągnąć — dodał półgłosem — wówczas, mimo że mam prawo do swobody, nie mogę przecież okazać się chamelem.

Pani de Guermantes siadła. Nazwisko jej, któremu towarzyszył tytuł, spowijał jej fizyczną osobę w owo księstwo, rozpościerające się dokoła niej i rodzące cienisty i złożony chłód lasów Guermantes w tym salonie, dokoła pufa, na którym siedziała. Czulem się tylko zdziwiony, że podobieństwo to nie było czytelniejsze na twarzy księżnej, niemającej nic roślinnego; co najwyżej na policzkach — które powinny by być naznaczone herbem Guermantes — widniały drobne żyłki, będące skutkiem (ale nie obrazem) długich konnych spacerów na wietrze. Później, kiedy mi się księżna stała obojętna, poznałem wiele jej cech; mianowicie (aby się na razie ograniczyć do tego, czego urokowi już bezwiednie i nieświadomie ulegałem) oczy jej, w których zamknięte było, niby na jakim obrazie, błękitne niebo francuskiego popołudnia, czyste, skąpane w świetle, nawet kiedy to światło nie lśniło; głos w pierwszej chwili jak gdyby zachrypnięty, niemal gminny, w którym włączyło się, niby na stopniach kościoła w Combray lub cukierni na rynku, leniwe i tłuste złoto prowincjonalnego słońca. Ale tego pierwszego dnia nie rozróżniałem nic; moja żarliwa uwaga rozpylała natychmiast to niewiele, co mogłem pochwycić i w czym mógłbym odnaleźć coś z nazwiska „Guermantes”. W każdym razie powiadałem sobie, że to ją niewątpliwie oznacza dla całego świata nazwisko księżnej de Guermantes; że to właśnie ciało zawiera niepojęte życie określone tym nazwiskiem; wprowadziło ją oto w sferę odmiennych istot, w ten salon, który ją otaczał ze wszystkich stron, a od którego odcinała się tak żywo, że widziałem niejako, tam gdzie to życie przestało się rozpościerać,



smugę wrzenia określającą jej granice: w obwodzie, jaki rysował na dywanie krąg niebieskiej jedwabnej spódnicy, i w jasnych źrenicach księżnej, w przecięciu zainteresowań, wspomnień i niepojętej, wzdurliwej, rozbawionej i ciekawej myśli, która je wypełniała, oraz odbijających się w nich zewnętrznych obrazów. Byłbym może nieco mniej wzruszony, gdybym spotkał księżnę u pani de Villeparisis na wieczorze, zamiast ją spotkać na jednym z „żurków” margrabiny, na „herbacie”, która jest dla kobiet tylko krótkim postojem w rozkładzie dnia i gdzie, zostając w kapeluszu, w którym uganiały po mieście, wnoszą w amfiladę<sup>328</sup> salonów woń powietrza ulicy, szerzej wpuszczając w nie schyłek paryskiego popołudnia, niż to czynią wysokie otwarte okna, przez które dochodzi turkot powozów. Pani de Guermantes miała słomkowy *canotier*, strojny bławatkami; a kwiaty te przywodziły mi na pamięć nie słońca odległych lat na bruzdach Combray, opodal żywoplotu w Tansonville, gdzie tak często zrywałem te bławatki, ale zapach i pył zmierzchu, w którym dopiero co kąpała się pani de Guermantes na ulicy de la Paix. Z uśmiechniętą, wzdurliwą i zagadkową miną, krzywiąc lekko zaciśnięte wargi, rysowała kółka na dywanie końcem parasolki niby ostatnią macką swego tajemniczego życia; następnie, z ową obojętną uwagą, która od razu niweczy wszelką styczność z tym, co się ogląda, spojrzenie księżnej spoczywało kolejno na każdym z nas, potem robiło przegląd kanap i foteli, łagodniejąc wówczas w wyrazie ludzkiej sympatii, jaką budzi nieznacząca nawet obecność rzeczy znajomej, rzeczy będącej niemal osobą; te meble nie były jak my, one były poniekąd z jej świata, były związane z życiem jej ciotki; następnie, z mebla *beaux-vaits* spojrzenie to schodziło na osobę, która na nim siedziała; wówczas przybierało ono z powrotem ten sam bystry wyraz i to niezadowolenie, którego szacunek dla ciotki nie pozwoliłby księżnej wyrazić, ale które by niewątpliwie odczuła, gdyby, w miejsce naszej obecności, stwierdziła na fotelach tłustą plamę lub warstwę kurzu.

Wszedł znakomity pisarz G...; przyszedł złożyć pani de Villeparisis wizytę, którą uważał za pilną. Księżna, zachwycona tym, że go spotyka, nie przywołała go do siebie gestem, niemniej, w sposób całkiem naturalny, on sam podszedł do niej; jej wdzięk, takt, prostota kazały mu ją uważać za kobietę inteligentną. Zresztą grzeczność nakładała mu obowiązek podejścia do księżnej, ile że — ponieważ był miły i sławny — pani de Guermantes zapraszała go często na śniadanie, nawet we trójkę z mężem, lub jesienią do Guermantes; korzystała z tej zażyłości, aby go zapraszać w pewne wieczory na obiad z dostojnymi gośćmi pragnącymi poznać pisarza. Bo księżna lubiła przyjmować niektórych wybranych ludzi, ale pod warunkiem, aby byli nieżonaci, którego to warunku dopełniali wobec niej, nawet gdy byli żonaci; żony ich bowiem, zawsze mniej lub więcej pospolite, raziłyby w salonie, gdzie znajdowały się jedynie najwykwintniejsze piękności paryskie. Tych znakomitych ludzi zawsze zapraszało się bez żon; aby uprzedzić wszelką drażliwość, księżę tłumaczył tym „wdowcom mimo woli”, że księżna nie przyjmuje kobiet, nie znosi towarzystwa kobiet, prawie tak, jakby to był przepis lekarza i tak jakby mówił, że żona nie może być w pokoju, gdzie jest jakiś zapach, jeść zbyt słono, siedzieć w wagonie tyłem do lokomotywy lub nosić gorsetu. Prawda, że ci wielcy ludzie widywali u Guermantów księżnę Parmy, księżnę de Sagan<sup>329</sup> (którą Franciszka, słysząc wciąż o niej, nazywała w końcu — sądząc, iż ten rodzaj żeński wymagany jest przez gramatykę — Saganką) i wiele innych; ale obecność ich usprawiedliwiano tym, że to jest rodzina albo przyjaciółki z dzieciństwa, których się nie da pominąć. Przekonani lub nieprzekonani wyjaśnieniami księcia de Guermantes w przedmiocie szczególnej choroby księżnej, polegającej na tym, że nie znosi towarzystwa kobiet, wielcy ludzie powtarzali je swoim żonom. Niektóre myślały, że ta choroba jest tylko płaszczkiem zazdrości i że księżna chce sama władać nad dworem wielbicieli. Jeszcze naiwniejsze myślały, że księżna ma jakieś dwuznaczne gusty, może skandaliczną przeszłość, że kobiety nie chcą u niej bywać i że pani de Guermantes konieczność tłumaczy kaprysem. Najpocziwsze, słysząc z ust mężów cuda o dowcipie i inteligencji księżnej, uważały, że osoba o tyle wyższa od innych kobiet nudzi się w ich towarzystwie, bo nie ma z nimi o czym mówić. I faktem jest, że księżna nudziła się z kobietami, o ile najdostojniejsze urodzenie nie przydawało im specjalnego uroku. Ale wygnane małżon-

<sup>328</sup> *amfilada* — szereg przechodnich pokoiów z wejściami ustawionymi w jednej osi. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *księżna de Sagan*, właśc. *Jeanne Seillière* (1839–1905) — żona (od 1858) Bosona de Talleyrand-Périgord, księcia de Sagan (Zagania), kolekcjonerka obrazów, słynna z urody, wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

ki myliły się, sądząc, iż księżna pragnie przyjmować jedynie mężczyzn po to, aby z nimi mówić o literaturze, nauce i filozofii. Bo nie mówiła o tym nigdy, przynajmniej z luminarzami intelektu. Siłą tradycji rodzinnej, która sprawia, iż córki wielkich wodzów zachowują, nawet pośród swoich najbliższych zatrudnień, szacunek dla rzeczy dotyczących armii, księżna — wnuczka kobiet zaprzyjaźnionych z Thiersem, Mériméem i Augierem<sup>330</sup> — uważała, że trzeba w swoim salonie zachować miejsce przede wszystkim dla wybitnych umysłów; ale z drugiej strony, z łaskawego zarazem i serdecznego sposobu, w jaki tych sławnych ludzi przyjmowano w Guermantes, przechowała nawyk traktowania ludzi z talentem jak bliskich znajomych, których talent nie olśniewa nas, z którymi nie mówi się o ich dziełach, co by ich zresztą nie bawiło. Następnie, charakter jej umysłowości — styl Mériméego oraz Meilhaca i Halévy<sup>331</sup> — skłaniał ją, przez kontrast z rozgadany sentymentalizmem poprzedniej epoki, do rodzaju rozmowy odrzucającej wszelki frazes i grandilokwencję<sup>332</sup>; co sprawiało, że księżna, znajdując się w towarzystwie poety lub muzyka, uważała za najwytworniejsze mówić jedynie o potrawach, które się właśnie je, lub o partyjce kart, do której się siądzie za chwilę. Dyscyplina ta miała dla kogoś nieoswojonego z nią coś niepokojącego, niemal tajemniczego. Kiedy pani de Guermantes pytała takiego kogoś, czy sprawiłoby mu przyjemność spędzić wieczór z jakimś sławnym poetą, ów, pożerany ciekawością, przybywał o oznaczonej godzinie. Przez cały czas księżna mówiła do poety o pogodzie. Siadano do stołu. „Czy pan lubi jajka przyrządzone w ten sposób?” — pytała poety. Wobec jego uznania, które podzielała (bo wszystko, co było u niej w domu, zdawało się jej wyborne, nawet ohydny jablecznik sprowadzany z Guermantes), polecała lokajowi: „Proszę panu podać jeszcze”, podczas gdy wzruszony gość wciąż oczekiwał tego, co oni mieli z pewnością sobie do powiedzenia, skoro doprowadzili do skutku to spotkanie — mimo tysiąca trudności — przed wyjazdem poety. Ale obiad ciągnął się dalej, obnoszono półmiski, które dawały pani de Guermantes sposobność do miłych żarcików lub zabawnych historyjek. Tymczasem poeta wciąż jadł, przy czym ani księżciu, ani księżnej nie przychodziło na myśl przypomnieć sobie, że on jest poetą. I niebawem śniadanie dobiegało końca, i trzeba się było pożegnać, nie rzekłszy słowa o poezji, którą wszyscy kochali, ale o której — przez delikatność, jakiej przedsmak dał mi Swann — nikt nie mówił. Ta delikatność to był po prostu dobry ton. Ale dla kogoś obcego, jeżeli zastanowił się trochę, miał ten obyczaj coś bardzo melancholijnego; obiad u Guermantów przywodził na myśl owe godziny, jakie nieśmiali kochankowie spędzają często, mówiąc same banalności, aż do chwili rozstania, tak że — przez nieśmiałość, wstydlivość lub niezręczność — wielki sekret, który wyznać byłoby dla nich takim szczęściem, nigdy nie może przejść im przez usta. Zresztą trzeba dodać, że to milczenie zachowywane co do rzeczy głębokich — przy czym wciąż się oczekiwało momentu ich poruszenia — o ile mogło uchodzić za charakterystyczne dla księżnej, nie było jednak absolutne. Pani de Guermantes spędziła młodość w środowisku nieco odmiennym, równie arystokratycznym, ale mniej świetnym, a zwłaszcza mniej czczym niż to, w którym żyła obecnie, w zamian za to odznaczającym się wielką kulturą. Zostawiło jej ono pod obecną światowością pewien grunt solidniejszy, niewidzialnie odżywczy, skąd księżnej zdarzało się czerpać nawet (bardzo rzadko, bo nie cierpiała pedantyzmu) jakiś cytat z Wiktora Hugo lub Lamartine’a, który, trafnie zastosowany, powiedziany z inteligentnym spojrzeniem pięknych oczu, mimo woli zadziwiał i czarował. Czasem nawet, bez pretensji, z taktem i prostotą, dawała autorowi dramatycznemu — akademikowi — jakąś dorzeczną radę, radziła mu złagodzić jakąś sytuację lub zmienić rozwiązanie.

Jeżeli w salonie pani de Villeparisis, tak samo jak w kościele w Combray na ślubie panny Percepied, z trudnością przychodziło mi w pięknej i zbyt ludzkiej twarzy pani de Guermantes odnaleźć nieznaną jej nazwiska, sądziłem bodaj, że jej rozmowa — głęboka, tajemnicza — będzie miała dziwność średniowiecznego haftu lub gotyckiego witrażu. Ale na to, by słowa wychodzące z ust osoby zwanej panią de Guermantes nie sprawiły mi zawodu — nawet gdybym jej nie kochał — nie wystarczyłoby już, aby

<sup>330</sup>Augier, *Émile* (1820–1889) — francuski dramaturg, autor komedii obyczajowych, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>Halévy, *Ludovic* (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

były subtelne, piękne i głębokie; na to musiałyby odbijać ów amarantowy kolor ostatniej zgłoski jej nazwiska, ów kolor, którego nieobecność w jej osobie zdziwiła mnie już pierwszego dnia i który przeniósłem w jej myśl. Bez wątpienia, slyszalem już panią de Villeparisis, Roberta de Saint-Loup — ludzi, których inteligencja nie miała nic niezwykłego — jak wymawiali niedbale owo „Guermantes”, po prostu jako nazwisko osoby, która ma przyjść z wizytą lub u której ma się być na obiedzie, najwidoczniej nie czując w tym nazwisku widoku żółkniejących lasów i całego tajemniczego zakątka prowincji. Ale to musiała być afektacja z ich strony, podobnie jak gdy poeci klasyczni nie uprzedzają nas o głębokich intencjach, które jednakże mieli; afektacja, którą i ja siliłem się naśladować, mówiąc najnaturalniej „księżna de Guermantes” — ot, jak nazwisko podobne do tyłu innych. Zresztą wszyscy zapewniali, że to jest osoba bardzo inteligentna, dowcipna, żyjąca w kółku niezmiernie interesującym; wszystko to podsycalo moje marzenia. Bo kiedy mówili „inteligentne kółko”, „dowcip”, nie wyobrażałem sobie zgoła inteligencji takiej, jaką znałem, choćby nawet inteligencji najwyższych duchów; nie wyobrażałem sobie owego kółka jako grona ludzi w rodzaju Bergotte’a. Nie, przez inteligencję rozumiałem jakąś właściwość niewystowioną, zlocistą, nasyconą leśnym chłodem. Nawet mówiąc naj-inteligentniejsze rzeczy (w sensie, w jakim brałem słowo „inteligentny”, kiedy chodziło o filozofa lub krytyka), pani de Guermantes byłaby może bardziej jeszcze zawiodła moje oczekiwanie tak odrębnej właściwości, niż gdyby w błahej gawędce mówiła po prostu o przepisach kucharskich lub o urządzeniu zamku, lub wymieniała nazwiska sąsiadek, krewnych, które by mi uzmysłowiły jej życie.

— Myślałam, że zastanę Błażeja tutaj, miał zamiar ciocię odwiedzić — rzekła pani de Guermantes do ciotki.

— Nie widziałam twojego męża od kilku dni — odparła podejrzliwie i kwaśno pani de Villeparisis. — Nie widziałam go albo widziałam może raz od czasu tego przemilego żarciku, kiedy to kazał się oznajmić jako królowa szwedzka.

Aby się uśmiechnąć, pani de Guermantes przygryzła wargi, tak jakby uszczypnęła ustami woalkę.

— Jedliśmy z nią wczoraj obiad u Blanki Leroi; nie poznałaby jej ciocia, zrobiła się olbrzymia, jestem pewna, że musi być chora.

— Mówiłam właśnie panom, że zrobiła na tobie wrażenie żaby.

Pani de Guermantes wydała chrapliwy dźwięk, świadczący, że się zaśmiała z poczucia obowiązku.

— Nie wiedziałam, zem zrobiła to piękne porównanie, ale w takim razie to jest żaba, której się udało osiągnąć rozmiary wołu. A raczej niezupełnie to, bo cały jej rozmiar skupił się na brzuchu: to raczej żaba w błogosławionym stanie.

— Paradny obraz! — rzekła pani de Villeparisis, w gruncie rzeczy dość dumna wobec swoich gości z dowcipu siostrzenicy.

— *Zwłaszcza arbitralny* — odparła pani de Guermantes, biorąc ironicznie w cudzysłów ten wyszukany epitet, tak jakby to uczynił Swann — bo przyznaję, że nigdy nie widziałam żaby w połogu. W żadnym razie ta żaba, która zresztą nie żąda króla, bo nigdy nie widziałam jej tak rozbrykanej, jak od śmierci jej małżonka, ma być u nas na obiedzie któregoś dnia w przyszłym tygodniu. Powiedziałam jej, że uprzedzę ciocię na wszelki wypadek.

Pani de Villeparisis wydała niewyraźny pomruk.

— Wiem, że przedwczoraj była na obiedzie u pani de Mecklemburg — dodała. — Był tam Hannibal de Bréauté. Przyszedł mi to opowiedzieć i muszę przyznać, wcale dowcipnie.

— Był na tym obiedzie ktoś znacznie dowcipniejszy od naszego Babala — rzekła pani de Guermantes, która, choć była bardzo blisko z panem de Bréauté-Consalvi, chciała to okazać, nazywając go tym zdrobnieniem. — Mianowicie pan Bergotte.

Nie myślałem, że Bergotte’a można było uważać za dowcipnego; co więcej, należał dla mnie do ludzkości inteligentnej, to znaczy nieskończenie odległej od tajemniczego królestwa, którym ujrzał pod purpurowymi frankami łoży, gdzie pan de Bréauté, pobudzając do śmiechu księżnę, wiódł z nią, w języku bogów, tę rzecz niepojętą: rozmowę mieszkańców Faubourg Saint-Germain. Zmartwiłem się, że równowaga się mąci i że Bergotte wysuwa się przed pana de Bréauté. Ale zwłaszcza byłem w rozpaczy, zem unikał Bergotte

te'a w ów wieczór *Fedry*, zem nie podszedł do niego; byłem w rozpaczy teraz, kiedym usłyszał, jak pani de Guermantes mówi do pani de Villeparisis:

— To jedyny człowiek, którego mam ochotę poznać — dodała księżna, w której zawsze można było, niby w momencie duchowego przyływu, obserwować, jak fala ciekawości w stosunku do sław intelektualnych spotyka się z odpływem arystokratycznego snobizmu. — To by była dla mnie wielka przyjemność!

Pokazanie się w towarzystwie Bergotte'a, rzecz tak łatwa do osiągnięcia, ale zdolna w moim pojęciu obniżyć mnie w oczach pani de Guermantes, byłaby mi zapewne zyskała to, że księżna wezwałaby mnie skinieniem do łoża i prosiłaby mnie, abym któregoś dnia przyszedł do niej z wielkim pisarzem na śniadanie.

— Zdaje się, że nie był bardzo miły; przedstawiono go księciu koburskiemu i nie odezwał się do niego ani słowa — rzekła pani de Guermantes, podkreślając ten ciekawy rys, tak jakby opowiadała, że Chińczyk obtarł nos papierem. — Nie powiedział mu ani razu „wasza wysokość” — dodała z miną ubawioną tym szczegółem, równie ważnym dla niej, jak zachowanie się protestanta wzdragającego się na audyencji u papieża klękając przed jego świątobliwością.

Zainteresowana wybrykami Bergotte'a, księżna nie widziała w nich zresztą nic naganego; zdawałoby się raczej, że mu je poczytuje za zasługę, mimo iż sama nie wiedziała ściśle, jakiego rodzaju jest ta zasługa. Mimo tego jej szczególnego sposobu pojmowania oryginalności Bergotte'a, fakt, że pani de Guermantes, ku zdziwieniu wielu osób, uznała Bergotte'a za dowcipniejszego od pana de Bréauté, wydał mi się później dosyć godny uwagi. Owe rewelacyjne sądy, odosobnione, a mimo wszystko słuszne, są w „świecie” udziałem nielicznych osób przerastających inne. Te właśnie osoby kreślą pierwszy zarys hierarchii walorów, takiej, jaką przyjmie następne pokolenie, zamiast się trzymać wiekuiście dawnej.

Hrabia d'Argencourt, poseł belgijski i powinowaty pani de Villeparisis, wszedł kulejąc, a tuż za nim dwaj młodzi ludzie, baron de Guermantes i jego wysokość książę de Châtellerault, do którego pani de Guermantes rzekła: „Jak się masz, mały”; powiedziała to niedbale i nie ruszając się z pufa, była bowiem w wielkiej przyjaźni z matką młodego księcia, który z tej przyczyny miał dla niej od dziecka wiele szacunku. Wysocy, szczupli, ze złotą cerą i złotymi włosami, typowi Guermantes, ci dwaj młodzi ludzie robili wrażenie jakby zageśczenia wiosennego i wieczornego światła, zalewającego salon. Modnym wówczas zwyczajem postawili cylindry przy sobie na ziemi. Historyk Frondy myślał, że oni są zakłopotani niby chłop, gdy wchodzi do urzędu i nie wie, co począć z kapeluszem. Pragnąc przyjść miłosiernie z pomocą ich domniemanemu nieobytcy, rzekł:

— Nie, nie, niech panowie nie stawiają kapeluszy na ziemi, zniszczą się.

Spojrzenie barona de Guermantes, nachylając skośnie płaszczyznę jego żrenic, zabarwiło je nagle zimnym i ostrym błękitem, który zmroził życzliwego historyka.

— Jak się nazywa — spytał mnie — ten jegomość, którego mi przedstawiła pani de Villeparisis?

— Pan Adam — odparłem półgłosem.

— Adam jak?

— Adam to jego nazwisko, to bardzo ceniony historyk.

— A!... upadam do nóg.

— Nie, to jest nowy obyczaj tych panów, aby kłaść kapelusze na ziemi — objaśniła pani de Villeparisis. — Jestem taka jak pan, nie mogę się do tego przyzwyczaić. Ale wolę to, niż kiedy mój siostrzeniec Robert zostawia kapelusz w przedpokoju. Kiedy wchodzi w ten sposób, powiadam mu zawsze, że wygląda na zegarmistrza i pytam się go, czy przyszedł nastawiać zegary.

— Mówiła pani przed chwilą, pani margrabino, o kapeluszu pana Molé; dojdziemy niebawem do tego, co Arystoteles w rozdziale o kapeluszach... — zaczął mówić historyk Frondy, nieco skrzepiony interwencją pani de Villeparisis, ale głosem jeszcze tak wątłym, że z wyjątkiem mnie nikt go nie dosłyszał.

— Bajeczna jest doprawdy nasza kochana księżna — rzekł pan d'Argencourt, pokazując panią de Guermantes, która rozmawiała ze sławnym pisarzem. — Z chwilą gdy się znajdzie w salonie sławny człowiek, zawsze musi być przy niej. Oczywiście musi to

być jakiś wielki mogol<sup>333</sup>. Nie można mieć co dzień pana de Borelli<sup>334</sup>, Schlumbergera<sup>335</sup> lub pana d'Avenel<sup>336</sup>; ale wówczas będzie pan Loti<sup>337</sup> albo pan Rostand<sup>338</sup>. Wczoraj wieczór u Doudeauvillów<sup>339</sup>, gdzie, nawiasem mówiąc, wspaniała była nasza księżna w swoim szmaragdowym diademie, w różowej sukni balowej z trenem, miała z jednej strony pana Deschanel<sup>340</sup>, z drugiej niemieckiego ambasadora: wyklócała się z nimi o Chiny; publiczność, w pełnej szacunku odległości, nie słysząc, co mówią, pytała się, czy nie będziemy mieli wojny. Doprawdy, można by rzec, królowa odbywająca *cercle*<sup>341</sup>.

Wszyscy zbliżyli się do pani de Villeparisis, przyglądając się, jak maluje.

— Te kwiaty mają różowość doprawdy niebieską — rzekł Legrandin — to znaczy koloru różowego nieba. Bo bywa niebo różowe, jak bywa niebo niebieskie. Ale — szepnął ciszej jedynie dla margrabiny — mam wrażenie, że ja wolę jeszcze atlas i szkarłat tej ich kopii, nad którą pani pracuje. Ach, jakże błędą przy pani Pisanello<sup>342</sup> i Van Huysum<sup>343</sup> ze swoim drobiazgowym i martwym zielnikiem.

Artysta, choćby najskromniejszy, godzi się zawsze, aby go przekładano nad jego rywali i stara się jedynie oddać im sprawiedliwość.

— Pańskie wrażenie tłumaczy się tym, że oni malowali kwiaty z owego czasu, których my już nie znamy; ale to byli wielcy mistrze.

— A, kwiaty z owego czasu, śliczna myśl! — wykrzyknął Legrandin.

— W istocie, bardzo są piękne te kwiaty wiśni... czy dzikiej malwy... — rzekł historyk Frondy nie bez wahania co do kwiatu, ale pewniejszym głosem, bo zapomniał już o zdarzeniu z kapelusząmi.

— Nie, to przecież kwiaty jabłoni — rzekła księżna de Guermites, zwracając się do ciotki.

— A, widzę że z ciebie dobra wieśniaczka: jak ja umiesz rozróżnić kwiaty.

— A, tak, prawda! Ale ja myślałem, że pora jabłoni już minęła — rzekł, ratując się na los szczęścia, historyk Frondy.

— Ależ nie, przeciwnie, jeszcze nie kwitną, nie będą kwitły wcześniej niż za dwa, może trzy tygodnie — rzekł archiwista, który, zawiadując po trosze dobrami pani de Villeparisis, bardziej był świadomy spraw wsi.

— Tak, i to jeszcze w okolicach Paryża, gdzie są bardzo wczesne. W Normandii na przykład, u jego ojca — rzekła, wskazując księcia de Châtellerault — który ma wspaniałe jabłonie nad samym morzem, niby na parawanie japońskim, robią się naprawdę różowe dopiero po dwudziestym maja.

— Nie widuję ich nigdy — rzekł młody książę — mnie to przyprawia o gorączkę sienną, to piramidalne.

— Gorączka sienna, nigdy nie słyszałem o tym — rzekł historyk.

— To modna choroba — rzekł archiwista.

— To zależy; to by może panu nie zaszkodziło, jeżeli to jest dobry rok na jabłka. Znacie państwo normandzkie porzekadło... — rzekł pan d'Argencourt, który, nie będąc całkowicie Francuzem, silił się być paryżaninem.

— Masz słuszność — rzekła pani de Villeparisis do siostrzenicy — to jest jabłoń z Południa. Kwiaciarka przysłała mi te gałązki, prosząc, abym je przyjęła. Pana to dziwi,

<sup>333</sup> *mogol* — tytuł władcy indyjskiego, tu ironicznie: wybitna osobistość. [przypis edytorski]

<sup>334</sup> *Borelli*, popr. *Borrelli*, *Raymond de* (1837–1906) — francuski poeta. [przypis edytorski]

<sup>335</sup> *Schlumberger*, *Gustave* (1844–1929) — francuski historyk. [przypis edytorski]

<sup>336</sup> *D'Avenel*, *Georges* (1855–1939) — francuski historyk i ekonomista. [przypis edytorski]

<sup>337</sup> *Loti*, *Pierre* (pseud.), właśc. *Louis-Marie-Julien Viaud* (1850–1923) — francuski pisarz, oficer marynarki, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>338</sup> *Rostand*, *Edmond* (1868–1918) — popularny francuski dramaturg, jego najbardziej znane dzieło to *Cyrano de Bergerac*. [przypis edytorski]

<sup>339</sup> *Doudeauvillouie* — Charles Gabriel Sosthène, książę Doudeauville (1825–1908), wieloletni prezes paryskiego Jockey Clubu, i jego żona Maria de Ligne (1843–1898). [przypis edytorski]

<sup>340</sup> *Deschanel*, *Paul* (1856–1922) — francuski polityk i pisarz, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego (1898–1902 i 1912–1920), prezydent Francji (1920). [przypis edytorski]

<sup>341</sup> *cercle* (wym. [serkl], daw., z fr.: kółko, grono osób) — pogawędka w zamkniętym gronie. [przypis edytorski]

<sup>342</sup> *Pisanello*, właśc. *Antonio Pisano* (ok. 1395–ok. 1455) — włoski malarz i rysownik; autor m.in. studiów fauny i flory. [przypis edytorski]

<sup>343</sup> *Huysum*, *Jan van* (1682–1749) — holenderski malarz barokowy, malował przeważnie owoce i kwiaty. [przypis edytorski]

panie Vallèrès — rzekła, zwracając się do archiwisty — że kwiaciarka przysłała mi gałązkę jabłoni. Ale mimo iż jest ze mnie bardzo stara dama, znam trochę ludzi, mam paru przyjaciół — dodała, uśmiechając się przez prostotę, jak przypuszczano powszechnie, ale raczej, jak mnie się wydawało, przez kokieteryę: ładnie jest pochwalić się przyjaźnią kwiaciarki, kiedy się ma tak wysokie stosunki!

Z kolei Bloch wstał, aby podziwiać kwiaty, które malowała pani de Villeparisis.

— To fakt, pani margrabino — rzekł historyk wracając na swoje miejsce — że gdyby się nawet zdarzyła jedna z owych rewolucji, które tak często krwawiły Francję... mój Boże, w dzisiejszych czasach nic nie można wiedzieć — dodał, rzucając dokoła ostrożne spojrzenie, jakby dla sprawdzenia, czy nie ma w salonie kogoś „źle myślącego”, mimo iż był tego pewny — przy takim talencie i przy pani pięciu językach, miałyby pani zawsze pewność, że pani sobie da radę.

Historyk Frondy zażywał niejakiego wytchnienia, bo zapomniał o swojej bezsenności. Ale przypomniał sobie nagle, że nie spał od sześciu dni; i w tej samej chwili zmęczenie, zrodzone w jego wyobraźni, obciążało mu nogi, przygięło ramiona i osmucona jego twarz obwisła, podobna do twarzy starca.

Bloch chciał uczynić jakiś gest, aby wyrazić podziw, ale ruchem łokcia przewrócił wazon, w którym tkwiła gałązka, i cała woda rozlała się na dywan.

— Istne ręce wróżki — rzekł do margrabiny historyk, który obrócony w tej chwili plecami, nie spostrzegł niezręczności Blocha.

Ale ów myślał, że te słowa odnoszą się do niego, i aby pokryć bezczelnością zażenowanie, rzekł:

— Nic się wielkiego nie stało, nie oblałem się.

Pani de Villeparisis zadzwoniła, przyszedł lokaj, aby wytrzeć dywan i zebrać kawałki szkła. Margrabina zaprosiła dwóch młodych ludzi na swój „poranek”, toż samo panią de Guermantes, do której rzekła:

— Pamiętaj powiedzieć Gizeli i Bercie (księżnej d'Auberion i księżnej de Portefin) żeby przyszły trochę wcześniej pomóc mi (tak jak poleciłaby „dochodzącym”, żeby przyszli wcześniej przyrządzić kompotierki).

Margrabina nie znajdowała dla swoich wysoko urodzonych krewnych, tak samo jak dla pana de Norpois, żadnej z owych uprzejmości, jakimi darzyła historyka, profesora Cottard, Blocha, mnie; można by myśleć, iż jedyną wartością tamtych jest to, że może ich rzucić na łup naszej ciekawości. Bo wiedziała, że nie ma się co wysilać dla ludzi, dla których była nie mniej lub bardziej świętą kobietą, ale jedynie drażliwą siostrą, oszczędzaną przez ich ojca lub wuję. Na nic by się jej nie zdało olśniewać tych ludzi, którzy znali na wylot silne i słabe strony jej sytuacji, umieli na pamięć jej historię i szanowali dostojną krew, z której się wiodła. Byli dla niej jedynie martwym szczątkiem, niezdolnym już wydać owoców; nie przedstawia jej swoich nowych przyjaciół, nie podziela z nią swoich przyjemności. Mogła uzyskać jedynie ich obecność lub możliwość mówienia o nich na swojej herbatce, jak potem w swoich pamiętnikach, dla których ta herbatka była tylko rodzajem generalnej próby, pierwszą głośną lekturą w małym kółku. Prawdziwym jej towarzystwem, które owi wszyscy szlachetni krewni pomagali jej zainteresować, olśnić, przykuć, było towarzystwo Cottardów, Blochów, znanych autorów dramatycznych, historyków Frondy wszelakiego rodzaju. W tym towarzystwie znajdowała margrabina — w braku eleganckiego świata, który u niej nie bywał — ruch, nowość, rozrywkę i życie; to byli ludzie, z których czerpała socjalne korzyści (warte, aby im dać czasem spotkać księżnę de Guermantes, której zresztą nie mieli być przedstawieni nigdy), obiady z wybitnymi ludźmi, których prace ją interesowały; operę komiczną lub pantominę wystawioną u niej przez autora, łoże na ciekawe sztuki.

Bloch wstał i zamierzał wyjść. Powiedział głośno, że wypadek z wazonem nie ma żadnego znaczenia, ale co innego mówił po cichu, a jeszcze co innego myślał: „Kiedy się nie ma służby na tyle wytresowanej, aby umiała postawić wazon tak, żeby nie groził przewróceniem się, a nawet pokaleczeniem gości, nie trzeba się bawić w wielki świat” — mruzczał na stronie. Bloch należał do owych drażliwych „nerwowców” niezdolnych ścierpieć, że popełnili niezręczność, do której nie przyznają się przed sobą, ale przez którą mają zepsuty cały dzień. Wścikły, miał pretensje do całego świata, postanawiał sobie przestać już w ogóle bywać. Była to chwila, w której człowiek potrzebuje trochę dystrak-

cji<sup>344</sup>. Szczęściem, za sekundę pani de Villeparisis miała zatrzymać Blocha. Czy że znała poglądy swoich przyjaciół oraz wzbierającą już falę antysemityzmu, czy po prostu przez roztargnienie, nie przedstawiła go obecnym; jednak Bloch, mało obyty w świecie, sądził, że odchodząc, powinien się pożegnać ze wszystkimi, dla dopełnienia formy, ale bez cienia uprzejmości; skłonił kilka razy głowę, wsunął brodę w kołnierzyk, patrząc kolejno na wszystkich przez szkła z zimną i kwaśną miną. Ale pani de Villeparisis zatrzymała go; chciała z nim jeszcze pomówić o komedynie, którą miano grać u niej; z drugiej strony nie chciała, aby Bloch odszedł, nie dostąpiwszy satysfakcji poznania pana de Norpois (dziwiła się, że go jeszcze nie ma), mimo że ta prezentacja była zbyt cenna, bo Bloch już był zdecydowany namówić paru artystów, aby przyszli śpiewać gratis, dla reklamy, na jednym z owych przyjęć margrabiny, gdzie spotykała się elita Europy. Zaproponował nawet ponadto tragiczkę „o czystych oczach, piękną jak Hera<sup>345</sup>”, która recytuje poezję prozą z poczuciem plastycznego piękna. Ale słysząc jej nazwisko, pani de Villeparisis odmówiła, bo to była przyjaciółka Roberta de Saint-Loup.

— Mam lepsze nowiny — szepnęła mi do ucha — zdaje się, że to się już wypała i że niebawem się rozstaną, mimo pewnego oficera, który odegrał w tym haniebną rolę — dodała. (Bo rodzina Roberta miała śmiertelną pretensję do pana de Borodino, który dał Robertowi urlop na prośbę fryzjera; obwiniano go, że faworyzuje ten bezecny stosunek). — To ktoś bardzo paskudny — rzekła pani de Villeparisis z cnotliwym akcentem Guermantów, nawet najbardziej zdeprawowanych. — Bardzo, bardzo paskudny — dodała, wzmacniając potrójnym *b* słowo „bardzo”. Czuć było, iż nie wątpi, że ten oficer bierze udział „na trzeciego” we wszystkich orgiach. Twarz jej marszczyła się surowością pod adresem ohydneho kapitana, którego nazwisko wymieniła z ironiczną emfazą: „książę de Borodino”, jak osoba, dla której Cesarstwo się nie liczy. Że jednak uprzejmość była dominującą cechą margrabiny, wybuch ten skończył się czułym uśmiechem pod moim adresem, z mechanicznym zmrużeniem oczu, znamionującym coś w rodzaju współnictwa.

— Lubię bardzo Roberta de Saint-Loup-en-Bray — rzekł Bloch — mimo że jest skończone bydlę, bo jest nadzwyczaj dobrze wychowany. Bardzo lubię, nie jego, ale osoby nadzwyczaj dobrze wychowane, to takie rzadkie — ciągnął, nie zdając sobie sprawy (ponieważ sam był bardzo źle wychowany), jak jego słowa rażą. — Zacytuję państwu jeden przykład, dla mnie uderzający, jego doskonałego wychowania. Spotkałem go raz z pewnym młodym człowiekiem, kiedy miał wsiadać na rydwan o pięknych osiach, założywszy sam błyszczące lejce parze koni karmionych owsem i jęczmieniem, których nie potrzeba zachęcać lśniącem biczem. Zapoznał nas, ale nie dosłyszałem nazwiska młodego człowieka, bo nigdy się nie słyszy nazwiska osób, którym nas przedstawiają — dodał Bloch, śmiejąc się, bo to był żarcik jego ojca. — De Saint-Loup-en-Bray zachował prostotę, nie nadskakiwał zbyt młodemu człowiekowi, nie wydawał się ani trochę skrepowany. Otóż przypadkiem dowiedziałem się w kilka dni później, że ten młody człowiek, to był syn sir Rufusa Israels!

Koniec tej historii wydał się mniej rażący niż jej początek, bo go obecni nie zrozumieli. W istocie, sir Rufus Israels — dla Blocha i jego ojca osobistość niemal królewska, przed którą Saint-Loup powinien był drżeć — był, przeciwnie, w środowisku Guermantów cudzoziemcem i parweniusem, ot, tolerowanym w towarzystwie, człowiekiem, którego przyjaźnią nie przyszłoby nikomu do głowy się pysznić, wprost przeciwnie!

— Dowiedziałem się o tym — rzekł Bloch — przez pełnomocnika sir Rufusa Israels: to przyjaciel mego ojca, człowiek bardzo niezwykły. Och, indywidualnie absolutnie ciekawe — dodał z ową apodyktyczną energią, z owym akcentem entuzjazmu, jaki wkładamy jedynie w przekonania, których nie wytworzyliśmy sobie sami.

Bloch był zachwycony nadzieją poznania pana de Norpois.

— Chętnie bym — powiadał — pociągnął go za język na temat Dreyfusa. To jest mentalność, którą znam dość mało; byłoby dla mnie wcale pikantne uzyskać *interview*<sup>346</sup> od tego znamenitego dyplomaty — rzekł sarkastycznym tonem, aby się nie wydawało, że się ma za coś gorszego od ambasadora.

<sup>344</sup>*dystrakcja* — rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*Hera* (mit. gr.) — bogini niebios i macierzyństwa, żona i siostra Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>*interview* (ang.) — wywiad z kimś przeprowadzany przez dziennikarza. [przypis edytorski]

— Powiedz mi — podjął Bloch, zwracając się do mnie po cichu — jaki majątek może mieć Saint-Loup? Rozumiesz, że jeżeli się pytam, dbam o to tyle co o zeszloroczny śnieg; obchodzi mnie to jedynie z punktu widzenia balzakowskiego, rozumiesz. I nie wiesz nawet, w czym to jest ulokowane: czy ma papiery francuskie, zagraniczne, ziemię?

Nie umiałem go w niczym objaśnić. Przestając szeptać, Bloch poprosił bardzo głośno o pozwolenie otworzenia okien i nie czekając odpowiedzi, skierował się w tę stronę. Pani de Villeparisis powstrzymała go, mówiąc, że jest zakatarzona.

— A, jeżeli to ma pani zaszkodzić... — rzekł Bloch niezadowolony. — Ale trzeba przyznać, że tu jest upał!

Zaśmiał się i powiódł wzrokiem dokoła, jak gdyby szukając u obecnych poparcia przeciw pani de Villeparisis; nie znalazł go wśród tych dobrze wychowanych ludzi. Błyszczące jego oczy, które nie zdołały uwieść nikogo, odzyskały wraz z rezygnacją wyraz serio. Jak gdyby stwierdzając swoją porażkę, rzekł:

— Musi być co najmniej dwadzieścia dwa lub dwadzieścia pięć stopni? To mnie nie dziwi. Pocę się jak ruda mysz. I nie mam, jak roztropny Antenor, syn strumienia Alfejosa<sup>347</sup>, możliwości zanurzenia się w ojcowskiej fali, aby splukać swój pot, zanim wnijdę do gładkiej wanny i namaszczę się wonną oliwą. — I z wrodzoną ludziom potrzebą kreślenia na użytek drugich teorii lekarskich, których praktyka byłaby pożyteczna dla nas samych, dodał: — Ha! skoro pani myśli, że to pani dobrze robi!... Ja sądzę przeciwnie. Właśnie z tego pani ma katar.

Pani de Villeparisis była niekontenta, że Bloch mówi to wszystko tak głośno, ale przestała się przejmować, kiedy ujrzała, że archiwista, którego nacjonalistyczne przekonania trzymały ją niejako na łańcuchu, siedzi zbyt daleko, aby móc usłyszeć. Bardziej zgorszyło ją, kiedy Bloch, party przez demona złego wychowania, który go uprzednio oślepił, spytał się jej, śmiejąc się z ojcowskiego konceptu:

— Prawda, to ten Norpois napisał wytrawne studium, gdzie dowodzi, dla jakich nieodpartych przyczyn wojna rosyjsko-japońska<sup>348</sup> musi się skończyć zwycięstwem Rosjan, a klęską Japończyków? Czy on nie jest trochę ramol? Zdaje mi się, że to jego widziałem, jak bierze na cel krzesło, zanim się ku niemu wypuści, ślizgając się jak na kółkach.

— Nigdy w życiu! Niech pan zaczeka chwilę — dodała margrabina — nie wiem, co on może robić tak długo.

Zadzzwoniła; kiedy służący wszedł, pani de Villeparisis, która bynajmniej nie kryła, a nawet lubiła okazywać, że jej stary przyjaciel większą część czasu spędza u niej, rzekła:

— Proszę uprzedzić pana de Norpois, żeby przyszedł. Porządkuje papiery w moim biurku; powiedział, że przyjdzie za dwadzieścia minut, a już blisko dwie godziny czekam na niego. Powie panu o sprawie Dreyfusa, o wszystkim co pan zechce — rzekła margrabina do Blocha z dąsem — nie bardzo zgadza się z tym, co się dzieje.

W istocie, pan de Norpois był źle z obecnym ministerstwem, a pani de Villeparisis, mimo że eks-ambasador nie pozwoliłby sobie przyprowadzić jej „figur z rządu”, wiedziała jednak przez niego o tym, co się działo. Margrabina zachowała mimo wszystko fason wielkiej damy, odgradzając się od urzędowych stosunków dyplomaty. Toż samo „figury z rządu” nie ośmieliłyby się prosić pana de Norpois o przedstawienie ich pani de Villeparisis. Ale czasem zdarzało się im dopaść go u margrabiny na wsi, kiedy był nagle potrzebny w ważnych okolicznościach. Znali adres: udawali się do pałacu, nie mając szczęścia oglądać pani domu. Ale przy obiedzie margrabina powiadała: „Wiem, że kochanego pana tu niepokojono. Czy sytuacja się poprawia?”.

— Nie spieszy się panu zbytnio? — spytała pani de Villeparisis Blocha.

— Nie, nie, chciałem wyjść, bo nie czuję się zbyt dobrze; zalecają mi nawet kurację w Vichy na mój pęcherzyk żółciowy — rzekł Bloch skandując wyrazy z szatańską ironią.

— A, właśnie mój siostrzeniec Châtellerault ma tam jechać; powinni byćście się panowie wybrać razem. Czy on jest jeszcze tutaj? Wie pan, to bardzo miły chłopiec — rzekła

<sup>347</sup>Antenor, syn strumienia Alfejosa — Antenor: członek starszyny trojańskiej, doradca króla Troi; Alfejos: bóg rzeki o tej samej nazwie; pomiędzy tymi dwiema postaciami w mitologii greckiej nie ma związku. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>wojna rosyjsko-japońska (1904–1905) — toczone o panowanie na Dalekim Wschodzie, gł. w Korei; zakończona miażdżącym zwycięstwem Japonii, która dzięki temu awansowała do grona światowych potęg. [przypis edytorski]



pani de Villeparisis może z dobrą wiarą, sądząc, iż dwaj młodzi ludzie, obaj jej znajomi, nie mają żadnej racji nie zaprzyjaźnić się z sobą.

— Och, nie wiem, czy by on miał ochotę, nie znam go... to jest znam... tak... trochę; o, stoi tam — rzekł zawstydzony i uszczęśliwiony Bloch.

Kamerdyner nie musiał bardzo dokładnie powtórzyć panu de Norpois zlecenia, z którym go wysłano. Bo ambasador, chcąc udać, że przychodzi z ulicy i że jeszcze nie widział pani domu, wziął w przedpokoju na chybił trafił jakiś kapelusz i wchodząc, ucałował ceremonialnie rękę pani de Villeparisis, pytając jej o zdrowie z zainteresowaniem świadczącym o dłuższej nieobecności. Nie wiedział, że pani de Villeparisis z góry odjęła wszelkie prawdopodobieństwo tej komedii, którą przecięła zresztą natychmiast, biorąc pana de Norpois i Blocha do sąsiedniego salonu. Widząc cały aparat uprzejmości rozwinięty dla osoby, której nie utożsamiał jeszcze z panem de Norpois, oraz nawzajem ceremonialne, wdzięczne i głębokie ukłony eks-ambasadora, Bloch, czując się czymś poniżej całego tego ceremoniału i podrażniony myślą, że nigdy się nie stanie jego przedmiotem, szepnął do mnie dla kontenansu<sup>349</sup>: „Co to za szczególnie okazy idioty?”. Może zresztą wszystkie te „salamaleki” pana de Norpois uraziły w Blochu to, co w nim było najlepszego, pewną prostotę i bezpośredniość bardziej nowoczesnego środowiska, i może poniekąd szczerze uważał je za śmieszne. W każdym razie przestały go śmieszyć, a nawet oczarowały go z chwilą, gdy on sam stał się ich przedmiotem.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — chciałam pana zapoznać z panem Bloch. Panie Bloch, margrabia de Norpois. (Mimo sposobu, w jaki musztrowała pana de Norpois, margrabina przestrzegająca tego, aby mu mówić: „panie ambasadorze”, przez znajomość form, przez wysoki a wpojony jej przez pana de Norpois szacunek dla rangi ambasadora, wreszcie aby w stosunku do danego mężczyzny zastosować owe maniere mniej poufale, ceremonialne, które w salonie dystygowanej damy, odbijając od jej swobody w stosunku do innych gości, wskazują natychmiast człowieka będącego jej kochankiem).

Pan de Norpois utopił błękitne spojrzenie w swojej białej brodzie, głęboko schylił wyniosłą postać, tak jakby się skłaniał przed całym blaskiem i dostojenstwem nazwiska Bloch, i mruknął: „Bardzo mi miło”, podczas gdy Bloch, wzruszony, ale znajdując, iż sławny dyplomata posuwa się za daleko, sprostował skwapliwie, mówiąc: „Ależ nie, bynajmniej, to mnie jest bardzo miło”. Przez wzgląd na panią de Villeparisis, pan de Norpois powtarzał tę ceremonię z każdym obcym, którego mu przedstawiła jego stara przyjaciółka, jednakże w stosunku do Blocha nie wydało się to margrabinie wystarczające, zatem rzekła:

— Panie Bloch, niech pan od razu zapyta ambasadora o wszystko, co pan chce wiedzieć; niech go pan weźmie do drugiego pokoju, jeżeli to wam wygodniej; będzie niezmiernie rad porozmawiać z panem; zdaje się, że pan chciał z nim pomówić o sprawie Dreyfusa.

Pani de Villeparisis mówiła to wszystko, tak samo nie troszcząc się o to, czy sprawi przyjemność panu de Norpois, jak jej nie przyszło na myśl pytać o zgodę portretu księżnej de Montmorency, zanim go kazała oświetlić dla historyka, lub pytać o zgodę herbaty przed poczęstowaniem nią gości.

— Niech pan mówi głośno — rzekła do Blocha — jest trochę głuchy, ale powie panu wszystko, co pan ze chce; znał doskonale Bismarcka, Cavoura<sup>350</sup>. Prawda, panie ambasadorze — rzekła z siłą — że pan dobrze znał Bismarcka?

— Czy pan ma coś na warsztacie? — spytał pan de Norpois porozumiewawczo, ścisnąc mi serdecznie rękę. Skorzystałem z tego, aby go uprzejmie uwolnić od kapelusza, który eks-ambasador uważał za potrzebne przynieść z sobą na znak ceremonii, bo spostrzegłem w tej chwili, że wziął przypadkowo mój. — Pokazał mi pan kiedyś fragment nieco przesubtylizowany, w którym pan rozciął każdy włos na czworo. Wyraziłem panu szczerze moje zdanie, że tego rodzaju wrażenia nie były warte trudu utrwalenia ich na pa-

<sup>349</sup> *kontenans* (daw., z fr.) — pewność siebie, odwaga. [przypis edytorski]

<sup>350</sup> *Cavour*, *Camillo Benso* (1810–1861) — włoski mąż stanu, polityk królestwa Piemontu i Sardynii, premier i minister spraw zagranicznych (od 1852), działacz na rzecz zjednoczenia Włoch; premier Włoch (1861). [przypis edytorski]

pierze. Czy przygotowuje nam pan coś obecnie? Był pan bardzo opętany Bergsonem<sup>351</sup>, przypominam sobie.

— Och! niech pan nie mówi źle o Bergsonie — wykrzyknęła księżna.

— Ja nie odmawiam mu talentu malarza, nikt by się nie ośmielił, księżno. Umie władać rylcem lub akwafortą, o ile nie umie nakreślić, jak pan Cherbuliez<sup>352</sup>, wielkiej kompozycji. Ale zdaje mi się, że nasza epoka dopuszcza się pomieszania rodzajów i że zadaniem powieściopisarza jest raczej być narratorem i krzepić serca niż dłużyć winietki i ornamenty. Mam spotkać pańskiego ojca w niedzielę u tego zacnego A.J. — dodał eks-ambasador, obracając się do mnie.

Widząc, iż pan de Norpois rozmawia z panią de Guermantes, miałem przez chwilę nadzieję, że mi użyczą dla wejścia w dom księżnej pomocy, której mi odmówił niegdyś w stosunku do pani Swann.

— Drugi przedmiot mego entuzjazmu — rzekłem — to Elstir. Zdaje się, że księżna de Guermantes ma cudowne Elstiry, zwłaszcza ów zdumiewający pęk rzodkiewek, który widziałem na wystawie i który bym tak pragnął ujrzeć jeszcze: co za arcydzieło!

I w istocie, gdyby moje zdanie coś znaczyło i gdyby mnie spytano, jakie dzieło malarzkie najwyżej cenię, wskazałbym ten pęk rzodkiewek.

— Arcydzieło? — wykrzyknął pan de Norpois z wyrazem zdumienia i nagany. — To nawet nie ma pretensji do obrazu, to prosty szkic (w czym miał rację). Jeżeli pan ten szkic nazwie arcydziełem, co pan powie o *Dziwicy Héberta*<sup>353</sup> lub *Dagnan-Bouvereta*<sup>354</sup>?

— Słyszałem, że ciocia odpałała przyjaciółkę Roberta — rzekła pani de Guermantes do ciotki, gdy Bloch odciągnął na stronę ambasadora. — Sądzę, ciociu, że nie masz czego żałować; to istna ohyda, nie ma za grosz talentu, a przy tym jest po prostu śmieszna.

— Ale jakim cudem księżna ją zna? — spytał pan d'Argencourt.

— Jak to! nie wie pan, że u mnie był jej pierwszy występ, z czego zresztą nie mam powodu się pysznić — rzekła, śmiejąc się, pani de Guermantes, szczęśliwa mimo to, skoro mówiono o tej aktorce, że to ona miała pierwociny jej śmieszności. — No, trzeba mi się zabierać — dodała, nie ruszając się z miejsca.

Ujrzała właśnie wchodzącego męża, a słowa te stanowiły aluzję do komicznego pozoru, że składają we dwoje wizytę poślubną, nie zaś do trudnych nieraz stosunków istniejących między nią a tym olbrzymim, starzejącym się chwatem, wciąż pędzącym kawalerskie życie. Wodząc po osobach siedzących dookoła herbacianego stołu uprzejme, sprytne i nieco olśnione blaskiem zachodzącego słońca spojrzenia swoich małych, okrągłych źrenic, umieszczonych dokładnie w oku niby tarcze, które ten świetny strzelec umiał brać na cel i trafiać tak nieomylnie, książę posuwał się z zachwyconą i ostrożną powolnością, jak gdyby, onieśmielony tak świetnym zebraniem, bał się nadepnąć na suknie i zmącić rozmowę. Stały uśmiech leciutko wstawionego dobrego króla Yvetot<sup>355</sup>, półotwarta dłoń, bujająca niby płetwa rekina koło piersi, dłoń którą pozwalał ścisnąć bez różnicy starym przyjaciółom i nieznanym, gdy mu ich przedstawiano, pozwalały księciu, bez jednego gestu, nie przerywając dobrodusznego, próżniaczego i królewskiego pochodzenia, uczynić zadość skwapliwości wszystkich, przy czym mruczał tylko: „Dzień dobry, mój poczciwy; dzień dobry, drogi przyjacielu; bardzo mi miło, panie Bloch; jak się masz, d'Argencourt”. Mnie, skoro usłyszał moje nazwisko, książę wyróżnił najbardziej, mówiąc: „Witaj, młody sąsiedzie. Jak się ma pański ojciec. Cóż za zacny człowiek!”. Pełny ceremoniał rozwinął książę Błazej jedynie dla pani de Villeparisis, która przywitała go skinieniem głowy, wyjmując rękę z fartuszka.

<sup>351</sup>Bergson, Henri (1859–1941) — francuski filozof, przedstawiciel irracjonalizmu i intuicjonizmu, twórca koncepcji *élan vital*, czyli pędu życiowego; za punkt wyjścia swej doktryny przyjął krytykę poznania intelektualnego na rzecz intuicji. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>Cherbuliez, Victor (1829–1899) — francuski powieściopisarz pochodzenia szwajcarskiego, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>Hébert, Ernest (1817–1908) — francuski malarz, tworzący sceny biblijne i portrety w stylu romantycznym. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>Dagnan-Bouveret, Pascal (1852–1929) — francuski malarz realista. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>król Yvetot — z piosenki *Le Roi d'Yvetot* Pierre'a Jeana de Beranger (1780–1857) z 1813, o kochającym wygodne i spokojne życie dobrym królu-pacyfście, rządzącym miasteczkiem Yvetot w Normandii. [przypis edytorski]

Kolosalnie bogaty w świecie, gdzie bogactwo jest coraz radsze, ksiązę nasiął w całej swojej istocie świadomością tej olbrzymiej fortuny; próżność wielkiego pana zdwoiła się próżnością krezusa<sup>356</sup>, przy czym staranne wychowanie pierwszego z nich ledwie umiało powściągnąć arogancję drugiego. Rozumiało się zresztą, że jego sukcesy u kobiet, stanowiące zgrzyotę jego żony, nie były wynikiem jedynie nazwiska i majątku, bo ksiązę, ze swoim czystym i wyrazistym profilem jakiegoś greckiego boga, był jeszcze bardzo piękny.

— Naprawdę, grała u pani? — spytał księżnej pan d'Argencourt.

— Ależ tak, przyszła u mnie recytować z bukietem lilij w ręce i w innych lelijach na sukni (pani de Guermentes, jak pani de Villeparisis, wymawiała z pewną kokieterią niektóre słowa z chłopska, mimo że nie „rulowała” r, jak jej ciotka).

Zanim pan de Norpois, spętany i osiodłany, powiódł Blocha do małej niszy, gdzie by mogli rozmawiać swobodniej, podszedłem na chwilę do starego dyplomaty i wsunąłem mu słówko o kandydaturze ojca. Zrazu chciał odłożyć rozmowę na później, na co napomknąłem, że wyjeżdżam do Balbec. „Jak to, znów pan jedzie do Balbec? Ależ z pana prawdziwy globtroter!”. Potem wysłuchał mnie. Słyszając nazwisko Leroy-Beaulieu, pan de Norpois spojrział na mnie podejrzliwie. Powziąłem stąd myśl, że eks-ambasador mówił może panu Leroy-Beaulieu o moim ojcu ujemne rzeczy i że lęka się, czy znakomity ekonomista ich nie powtórzył. Z punktu okazał się pełen najlepszych uczuć dla mego ojca. I po owym *ritardando*<sup>357</sup>, z którego wybucha nagle jakieś słowo, jak gdyby wbrew woli mówiącego, skoro nieodparte przekonanie zwycięży zająkliwe próby przemilczenia, ambasador rzekł z przejęciem:

— Nie, nie; *nie trzeba*, aby pański ojciec zgłaszał swoją kandydaturę. Nie trzeba w jego własnym interesie, dla niego samego, przez szacunek dla jego niepospolitej wartości, którą naraziłby w takim hazardzie. On jest wart więcej. Choćby go nawet wybrano, miałby wszystko do stracenia, a nic do zyskania. Bogu dzięki, nie jest mówcą. A to jest jedyna rzecz, która liczy się u moich kochanych kolegów, choćby nawet to, co się mówi, to były same androny. Pański ojciec ma doniosły cel w życiu; powinien iść prosto, nie dając się ściągnąć z drogi, nawet w bardziej cierniste niż pełne kwiatów gaje Akademosy<sup>358</sup>. Zresztą nie uzyskalby więcej niż kilka głosów. Akademia lubi wytrzymać postulanta, zanim go przyjmie na swoje łono. W obecnym momencie nic się nie da zrobić. Później, nie mówię. Ale trzeba, aby to ciało samo przyszło go szukać. Praktykuje ono z większym fetysyzmem niż szczęściem hasło „*Farà da se*”<sup>359</sup> naszych sąsiadów z tamtej strony Alp. Pan Leroy-Beaulieu mówił mi o tym w sposób, który mi się nie podobał. Trąciło mi to wyraźnie tym, że działa w porozumieniu z pańskim ojcem. Dałem mu może uczuć trochę żywo, że, nawykły zajmować się kolonistami i metalami, nie docenia roli imponderabiliów<sup>360</sup>, jak to nazywał Bismarck. Przede wszystkim, trzeba nie dopuścić do tego, aby ojciec pański zgłosił swoją kandydaturę: „*Principiis obsta*”<sup>361</sup>. Przyjaciele jego znaleźliby się w drażliwym położeniu, gdyby ich postawił wobec faktu dokonanego. Słuchaj pan — rzekł nagle pan de Norpois z akcentem szczerości, wlepiając we mnie swoje błękitne oczy — powiem panu coś, co pana zdziwi ze strony człowieka, który tak kocha pańskiego ojca. Otóż właśnie dlatego, że go kocham (jesteśmy dwaj nierozłączni *Arcades ambo*<sup>362</sup>), właśnie dlatego, że znam usługi, jakie może oddać krajowi, rafa, jakich może mu oszczędzić, o ile zostanie przy sterze, przez przyjaźń, przez wysoki szacunek, przez patriotyzm, nie głosowałbym za nim. Zresztą, sądzę, iż dałem to do zrozumienia. (Tu zdawało mi się, że widzę w oczach ambasadora asyryjski i surowy profil pana Leroy-Beaulieu). — Zatem, oddać mu swój głos, byłoby z mojej strony rodzajem zaprzaństwa.

Kilkakrotnie w czasie tej rozmowy pan de Norpois skwalifikował swoich kolegów jako mamutów. Pomijając inne racje, wszelki członek jakiegoś klubu lub Akademii lubi

<sup>356</sup> *krezus* — bogacz. [przypis edytorski]

<sup>357</sup> *ritardando* (muz., wł.) — zwolnienie tempa utworu. [przypis edytorski]

<sup>358</sup> *Akademos* (mit. gr.) — heros ateński, w gaju poświęconym Akademosowi znajdowała się szkoła Platona, stąd: Akademia. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> [*Italia*] *farà da se* (wł.) — Włochy same sobie poradzą. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *imponderabilia* (z łac.) — rzeczy nieuchwytnie, dosł. niedające się zważyć (tj. dokładnie określić), ale mające wpływ na rzeczywistość a. bieg jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *principiis obsta* (łac.) — niszczy zło w zarodku; dosł.: przeszkadzaj początkom. [przypis edytorski]

<sup>362</sup> *Arcades ambo* (łac.) — obaj Arkadyjczycy (Wergiliusz, *Bukoliki* VII, 4); o osobach tych samych upodobań. [przypis edytorski]

stroić swoich kolegów w charakter najbardziej spreczny ze swoim, nie tyle dla wygody powiedzenia: „Och, gdyby to zależało tylko ode mnie!”, ile dla satysfakcji przedstawienia tytułu, który sam posiada, jako czegoś trudniejszego i pochlebniejszego.

— Powiem panu — zakończył — że w interesie was wszystkich wolę dla pańskiego ojca triumfalny wybór za dziesięć lub piętnaście lat.

Słowa te wydały mi się w danej chwili wyrazem zazdrości lub bodaj absolutnej nieużytości; później, w świetle wypadków, zyskały inny sens.

— Czy nie zamierza pan omówić w Instytucie cen chleba w czasie Frondy? — spytał nieśmiało pana de Norpois historyk Frondy. — Mógłby pan tym zyskać znaczny sukces (co miało znaczyć: kolosalną reklamę) — dodał uśmiechając się do ambasadora tchórzliwie, ale zarazem z czułością, która kazała mu podnieść powieki i odsłonić oczy wielkie jak niebo. Zdawało mi się, że już gdzieś widziałem ten wzrok, a przecież poznałem historyka dopiero dziś. Naraz przypomniałem sobie: to samo spojrzenie widziałem w oczach brazylijskiego lekarza, zaręczającego, iż leczy duszności takie jak moje za pomocą idiotycznych inhalacji z jakichś ekstraktów roślinnych. Kiedy, chcąc, aby się mną gorliwiej zajął, powiedziałem mu, iż znam profesora Cottard, lekarz rzekł, jakby w interesie profesora: „Gdyby mu pan wspomniał o moim systemie, profesor znalazłby w nim materiał do sensacyjnego referatu w Akademii Medycznej”. Nie śmiał nalegać, ale patrzył na mnie z tym samym nieśmiałym, interesownym i błagalnym pytajnikiem w oczach, jaki właśnie podziwiałem u historyka Frondy. Z pewnością ci dwaj ludzie nie znali się wzajem i zupełnie nie byli do siebie podobni, ale prawa psychologiczne mają, jak prawa fizyczne, pewne ogólne zasady. I jeżeli okoliczności są jednakie, jednakie spojrzenie rozświeca różne zwierzęta ludzkie, jak to samo ranne słońce oświeca okolice leżące daleko od siebie i które się nigdy nie widziały.

Nie usłyszałem odpowiedzi ambasadora, bo wszyscy zbliżyli się z hałasem do pani de Villeparisis, aby popatrzeć jak maluje.

— Czy wiesz, o kim mówiliśmy, Błażeju? — spytała księżna męża.

— Zgaduję, oczywiście — rzekł książę.

— Och, to nie jest to, co nazywamy: „aktorka wielkiej klasy”.

— Nigdy — podjęła pani de Guermantes, zwracając się do pana d’Argencourt — nie wyobraziłby pan sobie czegoś równie pociesznego.

— To było nawet kakofoniczne — przerwał pan de Guermantes, którego dziwaczny słownik pozwalał równocześnie światowcom stwierdzać, że on jest „niegłupi”, a literatom uważać go za najgroźniejszego cymbała.

— Nie mogę pojąć — podjęła księżna — jakim cudem Robert mógł się w niej kiedy kochać. Och, ja wiem, że takich rzeczy się nie dyskutuje — dodała z ładną minką filozofki i zawiedzionej w swoich uczuciach kobiety. — Wiem, że byle kto może pokochać byle co. I — dodała księżna, bo o ile pokpiwała sobie jeszcze z nowej literatury, literatura ta, może spopularyzowana przez gazety, może przez pewne rozmowy, wsiąkała w nią po trosze — to jest nawet piękne w miłości, to właśnie czyni ją czymś „tajemniczym”.

— Tajemniczym! Och, przyznaję, że to jest trochę za trudne dla mnie, kuzynko — rzekł hrabia d’Argencourt.

— Ależ tak, to bardzo tajemnicza rzecz, miłość — odparła księżna z łagodnym uśmiechem kobiety światowej, ale i z nieubłaganym przeświadczeniem wagnerzystki, dowodzącej klubowcowi, że *Walkirie*<sup>363</sup> to nie jest tylko sam hałas. — Zresztą, w gruncie, nie wiemy nigdy, czemu ktoś kogoś kocha, może wcale nie dlatego, co my myślimy — dodała z uśmiechem, przekreślając nagle przez swoją interpretację myśl, którą dopiero co wyraziła. — Zresztą, w gruncie, nigdy się nic nie wie — zakończyła ze sceptyczną i znużoną minką. — Toteż, widzi pan, „inteligentniej” jest nie dyskutować nigdy wyboru w miłości.

Ale postawiwszy tę zasadę, złamała ją natychmiast, krytykując wybór Roberta.

— Z tym wszystkim wydaje mi się zdumiewające, aby kogoś mogła oczarować osoba śmieszna.

<sup>363</sup> *Walkirie* (mit. germ.) — pomniejsze boginie, dziewice-wojowniczkę dosiadające skrzydlatych koni, odprowadzające cienie poległych w boju do Walhalli; spopularyzowała je opera Wagnera *Walkiria* (1870) Richarda Wagnera, stanowiąca drugą część dramatu muzycznego *Pierścień Nibelunga*, a szczególnie *Cwał Walkirii*, wstęp do III aktu tej opery, jeden z najbardziej znanych utworów tego kompozytora. [przypis edytorski]

Bloch, słysząc, że mówimy o Robercie i zgadując, że Saint-Loup jest w Paryżu, zaczął wygadywać na niego tak okropnie, że wszystkich wzburzył. Zaczynały go nurtować nienawiści; czuło się, że aby je nasycić, nie cofnąłby się przed niczym. Przyjąwszy za zasadę, że on, Bloch, posiada wysokie wartości duchowe i że gatunek ludzi uczęszczających do „Boulie” (klub sportowy, który Bloch uważał za elegancki) zasługuje na galery, uważał, iż wszystkie ciosy, jakie im zdoła zadać, są uprawnione. Mówił wręcz o procesie, jaki myślał wytoczyć jednemu ze swoich przyjaciół z „Boulie”. W ciągu procesu zamierzał złożyć zeznania kłamliwe, ale takie, że oskarżony nie mógłby dowieść ich fałszu. W ten sposób Bloch (który zresztą nie wykonał swego zamiaru) pragnął go pognać i przywieść do szaleństwa. I cóż w tym złego, skoro człowiek, którego chciał ugodzić w ten sposób, był człowiekiem myślącym jedynie o „szyku”, człowiekiem z „Boulie”; przeciwko takim ludziom wszelka broń jest dozwolona, zwłaszcza człowiekowi świętemu jak Bloch.

— A jednak, niech pani weźmie Swanna — zauważył pan d'Argencourt, który, rozumiawszy wreszcie sens słów księżnej, uderzony ich słusnością, szukał w pamięci przykładu ludzi szalejących dla osób, które jemu by się nie podobały.

— Och, Swann to zupełnie nie to samo — zaprotestowała księżna. — To było zresztą bardzo zdumiewające, bo to była poczciwa idiotka, ale nie była śmieszna i była kiedyś ładna.

— Hum, hum — chrząknęła pani de Villeparisis.

— A! cioci się nie podobała? Ale owszem, miała szczegóły śliczne, bardzo ładne oczy, ładne włosy, ubierała się i dotąd ubiera się jeszcze cudownie. Teraz przyznaję, że ona jest potworna, ale to była czarująca osoba. Tym nie mniej zmartwiło mnie, że Lolo się z nią ożenił, bo to było takie niepotrzebne.

Księżna nie sądziła, aby powiedziała coś niezwyklego, że jednak pan d'Argencourt zaczął się śmiać, powtórzyła to zdanie, czy że się jej wydało dowcipne, czy że się jej wydał miły partner rozmowy, na którego zaczęła patrzeć pieszczotliwie, aby do czarów inteligencji dodać czar słodczy. Ciągnęła:

— Tak, nieprawdaż, nie było warto, ale ostatecznie ona nie była bez uroku i rozumem doskonale, że można ją było kochać; podczas gdy widząc tę pannę od Roberta, zapewniam was, można skonać ze śmiechu. Wiem, że mi kto odpowie starą śpiewką Augiera: „Cóż znaczy flasza, byle upojenie”. Otóż Robert ma może upojenie, ale doprawdy nie złożył dowodu smaku w wyborze flasz! Po pierwsze, pomyślcie, ona sobie ubrdała, żeby jej ustawić schody w samym środku mojego salonu. To drobiazg, nieprawdaż; do tego oznajmiła mi, że będzie leżała na brzuchu na tych schodach. Zresztą, gdyby pan słyszał, co ona deklamowała: znam tylko jedną scenę, ale nie przypuszczam, aby ktoś sobie zdołał wyobrazić coś podobnego: to się nazywa *Siedem księżniczek*<sup>364</sup>.

— *Siedem księżniczek*, au, au, co za snobizm! — wykrzyknął pan d'Argencourt. — Ale, a! czekajcie państwo, ja znam całą sztukę. To jednego z moich krajanów. Przesłał ją królowi, który nic nie zrozumiał i prosił mnie, żebym mu to wytłumaczył.

— Czy to przypadkiem nie Sar Peladan<sup>365</sup>? — spytał historyk Frondy, z intencją dowcipu i aktualności, ale tak cicho, że jego słowa przeszły niepostrzeżenie.

— A, pan zna *Siedem księżniczek*? — odparła księżna panu d'Argencourt. — Moje gratulacje! Ja znam tylko jedną, ale to mi odjęło ochotę do znajomości z sześcioma innymi. Jeżeli wszystkie są podobne do tej, którą widziałam!

„Co za kłępa — myślałem podrażniony lodowatym sposobem, w jaki mnie księżna przyjęła. Znajdowałem rodzaj cierpkiej przyjemności w stwierdzeniu jej pełnego niezrozumienia Maeterlincka<sup>366</sup>. — I dla takiej kobiety odwałem co rano nie wiem już ile kilometrów; doprawdy, trzeba mieć zdrowie! Teraz to ja bym jej nie chciał”. Takie słowa mówiłem w duchu; ale były one przeciwieństwem mojej myśli; były to słowa czysto konwersacyjne, jakie powtarzamy w chwilach gdy, nazbyt wzburzeni, aby zostać sami

<sup>364</sup>*Siedem księżniczek* — *Les Sept Princesses* (1891), sztuka Maurice'a Maeterlincka. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>*Peladan, Joséphin*, znany też *Sâr Peladan* (1858–1918) — francuski powieściopisarz; utrzymywał, że pewien babiloński król pozostawił jego rodzinie tytuł „Sâr”; założyciel odnowionego Bractwa Różokrzyżowców, które m.in. organizowało wystawy obrazów: na jednej z ulotek takiej wystawy znajdowały się schody usłane liliami. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>*Maeterlinck, Maurice* (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

z sobą, odczuwamy potrzebę, w braku innego partnera, rozmawiać z sobą, nieszczerze jak z obcym.

— Nie mogę panu dać o tym wyobrażenia — ciągnęła księżna — to można było skończyć ze śmiechu. Nie żalowano też sobie, zanadto może, bo pindulka się obraziła, a Robert w gruncie rzeczy zawsze chował o to żal do mnie. Czego zresztą nie żałuję, bo gdyby dobrze poszło, dałoby to tej pannie powód do dalszych występów, a nie wiem, czyby to zrobiło przyjemność Marii Aynardowej.

Tak nazywano w rodzinie matkę Roberta, panią de Marsantes, wdowę po Aynardzie de Saint-Loup, aby ją odróżnić od jej kuzynki, księżnej de Guermites z panującego domu bawarskiego, również Marii, do którego to imienia, dla uniknięcia pomyłek, siostrzeńcy, kuzyni i szwagrowie dodawali imię męża lub drugie jej imię, zwać ją Maria Gilbertowa lub Maria Jadwiga.

— Zresztą w wilię był rodzaj próby generalnej, to było ładne! — ciągnęła ironicznie pani de Guermites. — Wyobraźcie sobie, kiedy powiedziała zdanie, a nawet nie, ćwierć zdania, zatrzymywała się; robiła pauzę, doprawdy nie przesadzam, przez pięć minut.

— Au, au, au! — krzyknął pan d'Argencourt.

— Najuprzejmiej w świecie pozwoliłam sobie zwrócić jej uwagę, że to się może wyda trochę dziwne. Odpowiedziała dosłownie: „Trzeba zawsze mówić każdą rzecz tak, jakby się ją właśnie samemu tworzyło”. Skoro się trochę zastanowić, ta odpowiedź jest monumentalna!

— Ja myślałem, że ona nieźle mówi wiersze — rzekł jeden z dwóch młodych ludzi.

— Nie ma o tym zielonego pojęcia — odparła pani de Guermites. — Zresztą ja nie potrzebowałam jej słyszeć. Wystarczyło mi widzieć ją, jak sunie ze swoją leliją. Od razu zrozumiałam, że ona nie ma talentu, kiedym zobaczyła leliję.

Wszyscy się zaśmiali.

— Ciociu, nie pogniewała się chyba ciocia na mnie kiedyś za mój żart z królową szwedzką, przychodzę błagać o pardon.

— Nie, nie gniewam się, pozwalam ci nawet zjeść podwieczorek, jeżeli jesteś głodny. No, panie Valleneres, niech pan robi pannę domu — rzekła pani de Villeparisis do archiwisty: był to uświęcony żarcik.

Pan de Guermites wyprostował się w fotelu, gdzie się rozwalił, postawiwszy cylinder na dywanie, i badał z zadowoloną miną talerzyki z ciasteczkami, które mu podawano.

— Ależ chętnie, teraz kiedy się zaczynam oswajać z tym szlachebnym zgromadzeniem, schrupię jakąś babkę, wyglądają wybornie.

— Doskonale się pan wywiązuje z roli panny domu — rzekł pan d'Argentcourt, który przez ducha naśladownictwa podjął koncept pani de Villeparisis.

Archiwista podał ciasteczka historykowi Frondy.

— Cudownie się pan wywiązuje ze swoich funkcji — rzekł ów przez nieśmiałość i starając się pozyskać ogólną sympatię.

Jakoż objął ukradkiem porozumiewawczym spojrzeniem tych, co zrobili już jak on.

— Powiedz mi, dobra ciociu — spytał pan de Guermites pani de Villeparisis — kto jest ten pan prezentujący się wcale dobrze, który wychodził, kiedy ja wchodziłem? Muszę go znać, bo mi się głęboko uklonił, ale nie przypominam go sobie. Ciocia wie, że ja jestem zawsze w niezgodzie z nazwiskami, co jest bardzo niemile — rzekł tonem satysfakcji.

— Pan Legrandin.

— A! przecież Oriana ma kuzynkę, której matka, jeżeli się nie mylę, jest z domu Grandin. Tak, tak, wiem doskonale, to są Grandin de l'Éprevier.

— Nie — odparła pani de Villeparisis — to nie ma żadnego związku. Ci są po prostu Grandin, Grandin „de nic a nic”. Ale bardzo by chcieli być „de coś”, co ci się tylko podoba. Siostra tego pana nazywa się pani de Cambremer.

— Ależ słuchaj, Błażeju, wiesz, o kim ciocia mówi — wykrzyknęła księżna z oburzeniem — to przecie brat tej trawożernej olbrzymki, którą przyszło ci kiedyś do głowy wpakować mi na kark. Siedziała godzinę; myślałam, że zwariuję. Ale z początku sądziłam, że to ona zwariowała, widząc wchodzącą do mnie osobę, której nie znałam, osobę z miną krowy.

— Słuchaj, Oriano, spytała się mnie, kiedy ty przyjmujesz; nie mogłem być grubianinem — rzekł książę. — Zresztą powiedz sama, ty przesadzasz: ona nie ma miny krowy — dodał żalonym tonem, rzucając ukradkiem na obecnych uśmiechnięte spojrzenie.

Książę wiedział, że werwa żony wymaga, aby ją podsycać sprzeciwem; sprzeciwem zdrowego rozsądku, który protestuje na przykład, że nie można wziąć kobiety za krowę (w ten sposób pani de Guermantes, licytując samą siebie, znajdowała często swoje najładniejsze powiedzonka). I książę nastroił się naiwnie, aby pomóc, niby to niechcący, do sukcesu sztuczki, jak w wagonie kolejowym cichy współnik szulera.

— Uznaję, że nie wygląda na krowę, bo wygląda na całe stado krów — wykrzyknęła księżna. — Przysięgam wam, byłam w wielkim kłopotcie, widząc to stado krów tarabaniące się w kapeluszu do salonu i pytające mnie o zdrowie. Z jednej strony miałam ochotę jej odpowiedzieć: „Ależ, stado krów, tobie się coś myli; nie możesz być w stosunkach ze mną, skoro jesteś stadem krów”; z drugiej strony, szukając w pamięci, ubrdałam sobie w końcu, że twoja Cambremer to jest infantka<sup>367</sup> Dorota, która zapowiedziała się, że przyjdzie kiedyś, a która też jest dosyć *krowiasta*; tak że omal nie powiedziałam „wasza królewska wysokość” i nie mówiłam w trzeciej osobie do stada krów. Ona też ma żółdek w stylu królowej szwedzkiej. Zresztą ten atak na bagnety przygotowany był zawczasu ostrzeliwaniem mnie wedle wszelkich reguł strategii. Nie pamiętam już, odkąd bombardowała mnie biletami wizytowymi; znajdowałam je wszędzie, na wszystkich meblach jak prospekty. Nie znałam celu tej reklamy. Wszędzie czytało się u mnie same: „Margrabia i margrabina de Cambremer” z adresem, którego nie pamiętam i z którego zresztą postanowiłam sobie święcie nie skorzystać.

— Ależ to bardzo pochlebne być podobną do królowej — rzekł historyk Frondy.

— Och, mój Boże, drogi panie, królowie w naszej epoce to bardzo niewiele! — rzekł pan de Guermantes, bo miał pretensję być umysłem wyzwolonym i nowoczesnym, a także aby się nie wydawało, że sobie dużo robi ze stosunków monarszych, na których zależało mu bardzo.

Bloch i pan de Norpois, którzy wstali z krzesel, znaleźli się opodal nas.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis — czy mówił pan z panem Bloch o sprawie Dreyfusa?

Pan de Norpois podniósł oczy do nieba z uśmiechem, ale jak gdyby stwierdzając potworność kaprysów, jakie mu narzuca jego Dulcynea<sup>368</sup>. Mimo to zaczął mówić Blochowi bardzo uprzejmie o okropnych, może śmiertelnych latach, jakie przeżywa Francja. Ponieważ to znaczyło prawdopodobnie, że pan de Norpois (któremu wszelako Bloch oświadczył, że wierzy w niewinność Dreyfusa) jest gorącym antydreyfusistą, uprzejmość ambasadora, mina, z jaką zdawał się przyznawać słuszność swemu partnerowi, nie wątpić, że są jednego zdania, sprzymierzać się z nim w potępieniu rządu, pochlebiali próżności Blocha i budziły jego ciekawość. Co to były za ważne punkty, których pan de Norpois nie określał, ale co do których zdawał się dopuszczać swoją zgodność z Blochem; jakież tedy miał pogląd na sprawę, który by mógł ich zjednoczyć? Bloch był tym bardziej zdziwiony tajemniczą harmonią, jaka zdawała się istnieć między nim a panem de Norpois, ile że ta harmonia tyczyła się nie tylko polityki, pani de Villeparisis wspomniała bowiem dość obszernie panu de Norpois o pracach literackich Blocha.

— Pan nie jesteś człowiekiem swojej epoki, winszuję panu — rzekł do Blocha eks-ambasador — nie jesteś pan z tej epoki, w której bezinteresowne studia już nie istnieją, w której sprzedaje się publiczności jedynie pornografię lub bzdurstwa. Usiłowania takie jak pańskie powinny by się spotkać z zachętą, gdybyśmy mieli rząd.

Blochowi bardzo pochlebiło, że sam jeden nie zatonął w powszechnym potopie. Ale i w tym byłby pragnął większej ścisłości; rad byłby wiedzieć, o jakich bzdurstwach mówi pan de Norpois. Bloch miał poczucie, że pracuje w tym samym duchu co wielu innych; nie sądził, aby był tak wyjątkowy. Wrócił do sprawy Dreyfusa, ale nie zdołał rozgryźć poglądów pana de Norpois. Starał się go sprowadzić na oficerów, których nazwiska, powtarzające się często w owej chwili w dziennikach, więcej budziły ciekawości od polityków wmieszanych w tę samą sprawę, ponieważ ci wojskowi byli mniej znani i ponieważ,

<sup>367</sup> *infantka* — hiszpański tytuł córki królewskiej. [przypis edytorski]

<sup>368</sup> *Dulcynea* — ukochana Don Kichota, tytułowego bohatera powieści Miguela Cervantesa. [przypis edytorski]

w specjalnym kostiumie, z głębi odrębnego życia oraz święcie dochowywanego milczenia, wyłonili się dopiero, aby przemówić, niby Lohengrin<sup>369</sup> wysiadający z czółna ciągnionego przez łabędzia. Dzięki znajomemu adwokatowi-nacjonalście Bloch zdołał się dostać na kilka posiedzeń procesu Zoli<sup>370</sup>. Przychodził rano, z zapasem bułek z szynką i flaszką kawy, aby wychodzić aż wieczór, jak przy piśmiennej maturze; ta zmiana trybu życia wprowadzała go w stan nerwowej pobudliwości, którą potęgowała jeszcze kawa oraz emocje procesu. Wychodził tak upojony wszystkim, co przeżył, że wieczorem, wróciwszy do domu, pragnął się znów zanurzyć w pięknym śnie i spieszył spotkać kolegów w kawiarni odwiedzanej przez oba stronnictwa. Omawiał tam bez końca z nimi wypadki dnia, rozkazującym tonem, dającym mu złudzenie władzy, zamawiał kolację, która kompensowała post i zmęczenie dnia zaczętego tak wcześnie i bez śniadania. Człowiek poruszający się wciąż między dwiema płaszczyznami — doświadczenia i wyobraźni — chciałby zgłębić idealne życie ludzi, których zna, oraz poznać istoty, których życie musi sobie roić. Na pytanie Blocha pan de Norpois odpowiedział:

— Jest dwóch oficerów wmieszanych w wiadomą sprawę, ludzi, o których słyszałem niegdyś z ust człowieka zasługującego na wszelkie zaufanie a ceniącego ich nader wysoko (pan de Miribel); ci oficerowie to podpułkownik Henry<sup>371</sup> i podpułkownik Picquart.

— Ależ — wykrzyknął Bloch — boska Atena<sup>372</sup>, córka Zeusa, pomieściła w umyśle każdego z nich pojęcia wręcz przeciwne tym, które mieszkają w głowie drugiego. I walczą przeciwko sobie niczym dwa lwy. Pułkownik Picquart miał znakomitą sytuację w wojsku, ale jego Mojra<sup>373</sup> zawiodła go na stronę nieodpowiadającą jego stanowisku. Miecz nacjonalistów przetnie jego delikatne ciało, iżby posłużył za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych<sup>374</sup>.

Pan de Norpois nie odpowiedział nic.

— O czym oni tam rącają w kącie? — spytał pan de Guermantes pani de Villeparisis, pokazując pana de Norpois i Blocha.

— O sprawie Dreyfusa.

— Bagatela! *À propos*, czy wiecie, kto jest zajadłym stronnikiem Dreyfusa? Zgadnijcie, jeśli możecie. Mój siostrzeniec Robert! Powiem wam nawet, że w „Jockeyu”, kiedy się dowiedziano o jego wyczynach, zrobił się prawdziwy huczek, istny tumult. Ponieważ podają go za tydzień na członka...

— Oczywiście — przerwała księżna — jeżeli oni są wszyscy tacy jak Gilbert, który zawsze utrzymywał, iż trzeba wysłać wszystkich Żydów do Jerozolimy...

— A! w takim razie książę Gilbert podziela najzupełniej moje przekonania — przerwał pan d'Argencourt.

Książę stroił się w swoją żonę, ale jej nie kochał. Sam wielki arogant, nie znosił, aby mu przerywano; przyzwyczał się przy tym w domu być z nią brutalny. Trzęsąc się

<sup>369</sup>*Lohengrin* — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, które działają tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>*Zola, Emile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L'Aurore” artykuł *J'Accuse!*... (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemitizm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*Henry, Hubert-Joseph* (1846–1898) — francuski oficer wywiadu; jego przełożony, Picquart, był przekonany, że Henry sfalszował dowody, aby ostatecznie udowodnić, że Alfred Dreyfus był zdrajcą na korzyść Niemiec; fałszerstwo udowodniono w 1898, Henry został aresztowany; znaleziono go martwego w celi więziennej. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>*Atena* (mit. gr.) — bogini mądrości, sztuki i wojny sprawiedliwej, córka Zeusa, władcy bogów. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>*Mojry* (mit. gr.) — trzy boginie przeznaczenia, pilnujące odwiecznego porządku świata, wyobrażane jako prządki przędące i przecinające nić ludzkiego żywota. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>*za strawę drapieżnym zwierzętom i ptakom żywiącym się tłuszczem umarłych* — zapewne aluzja do słów z pierwszego zdania *Iliady*: „na pastwę dał sępom i psom bez pogrzebu walające się trupy rycerskie” (tłum. Franciszek Ksawery Dmochowski). [przypis edytorski]



z podwójnego gniewu, złego męża, do którego żona mówi, i krasomówcy, którego ktoś nie słucha, urwał i przesył książkę spojrzeniem, które zakłopotowało wszystkich.

— Co ciebie napadło opowiadać nam o Gilbertcie i o Jerozolimie? — rzekł wreszcie. — Nie o to chodzi. Ale — dodał łagodniej — przyznajcie mi, że gdyby zbalotowano<sup>375</sup> w „Jockeyu” jednego z naszych, a zwłaszcza Roberta, którego ojciec był przez dziesięć lat prezesem klubu, to by był szczyt! Cóż chcesz, moja droga, zatknęło po prostu tych ludzi, rozdziawili szeroko oczy. Nie mogę ich potępiać; osobiście, wiesz, że nie mam żadnego przesądu co do ras, uważam, że to nie jest rzecz na dzisiejsze czasy, a mam pretensję iść z duchem czasu, ale ostatecznie, cóż u diaska! Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup, nie jest dreyfusistą, daruj mi, ale to trudno!

Pan de Guermantes wyrzekł te słowa: „Kiedy się ktoś nazywa margrabia de Saint-Loup” z emfazą. Wiedział przecież dobrze, że jeszcze większą rzeczą jest nazywać się „książę de Guermantes”. Ale o ile jego miłość własna skłonna była raczej przeceniać wyższość tytułu księcia de Guermantes, widząc go nad wszystkimi innymi, nie tyle może prawidła dobrego smaku, ile prawa wyobraźni parły księcia do tego, aby go pomniejszać. Każdemu się wydaje piękniejsze to, co widzi na odległość, co widzi u innych. Powszechne prawa regulujące perspektywę wyobraźni obowiązują równie dobrze książąt jak innych ludzi. Nie tylko prawa wyobraźni, ale języka. Otóż jedno i drugie z dwóch prawideł języka mogło tu znaleźć zastosowanie. Jedno chce, aby się wyrażać tak jak ludzie danej klasy duchowej, a nie rodowej. Tym samym pan de Guermantes, nawet kiedy chciał mówić o szlachcie, mógł spłacać haracz małemu mieszczaństwu, które by powiedziało: „Kiedy się ktoś nazywa książę de Guermantes”, podczas gdy intelektualista, jakiś Swann, jakiś Legrandin nie powiedzieliby tego. Książę może pisać powieści godne sklepikarza, nawet gdy bierze wielki świat za temat; pergaminy nie są tu żadną pomocą, a epitet „arystokratyczny” mogą zdobyć pisma jakiegos plebejusza. Kto to był, w danym wypadku, ów łyk, z którego ust pan de Guermantes słyszał: „Kiedy się ktoś nazywa...”, o tym z pewnością książę nie miał pojęcia. Ale innym prawem języka jest, że od czasu do czasu, tak jak się zjawiają i znikają pewne choroby, o których nie słyszy się już później, tak samo rodzą się, nie wiadomo jak — samoistnie, czy przez przypadek, podobny temu, który przenosi do Francji chwast z Ameryki przez nasienie uczonego pledu jakiegos podróżnego i zawiane na skarpe kolejową — całe światy wyrażen, powtarzanych w tej samej dekadzie przez ludzi, którzy się nie umówili w tym celu. Tak na przykład pewnego roku słyszałem Blocha mówiącego o samym sobie: „Skoro osoby najbardziej urocze, najświetniejsze, najlepiej postawione, najwybredniejsze, spostrzegły się, że istnieje tylko jeden człowiek, który się im wydał inteligentny, miły, bez którego nie mogą się obejść, a mianowicie niejaki Bloch”; i to samo zdanie słyszałem w ustach wielu innych młodych ludzi, którzy go nie znali i którzy zastępowali jedynie nazwisko „Bloch” swoim własnym; otóż tak samo miałem często słyszeć owo: „Kiedy się ktoś nazywa”.

— Cóż chcecie — ciągnął książę — wobec ducha, jaki tam panuje, to dość zrozumiałe.

— To zwłaszcza komiczne — odparła księżna — zważywszy poglądy jego matki, która nas piłuje swoją Patrie Française<sup>376</sup> od rana do wieczora.

— Tak, ale tu jest nie tylko jego matka, nie trzeba nam zawracać głowy matką. Jest tam dziewucha, lafirynda najgorszego rodzaju, która ma na niego więcej wpływu i która właśnie jest rodaczką imć Dreyfusa. Ona zaraziła Roberta swoim duchem.

— Nie wie może książę, że istnieje nowe słowo na wyrażenie tego rodzaju ducha — rzekł archiwista, będący sekretarzem komitetów antyrewizjonistycznych. — Mówi się „mentalność”. To znaczy ściśle to samo, ale przynajmniej nikt nie wie, co to ma znaczyć. To jest szczyt finezji; jak się to mówi, „ostatni krzyk”.

Równocześnie archiwista, usłyszawszy nazwisko Blocha, z niepokojem obserwował jego rozmowę z panem de Norpois, co znów obudziło niepokój odmiennego rodzaju, ale równie mocny u margrabiny. Drżąc przed archiwistą i udając przed nim antydreyfusistkę,

<sup>375</sup>balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; zbalotować: odrzucić lub wyrzucić w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]

<sup>376</sup>Ligue de la patrie française (fr.) — Liga Ojczyzny Francuskiej, francuska organizacja polityczna o charakterze nacjonalistycznym, zał. w 1898, w okresie sprawy Dreyfusa, w odpowiedzi na utworzenie przez intelektualistów lewicy Ligi Praw Człowieka; oficjalnie rozwiązana w 1904. [przypis edytorski]

bała się jego wymówek, o ile ów sobie zda sprawę, że ona wpuściła do domu Żyda mniej lub więcej związanego z „syndykatem”.

— A, „mentalność”, muszę to zapisać, podam to dalej — rzekł książę. (To nie była przenośnia: książę miał notesik pełen cytatów, które przeglądał przed wielkimi obiadami). — Mentalność udała mi się. Są takie nowe słowa, które ktoś puszcza w kurs, ale które nie trwają długo. Niedawno czytałem w tym rodzaju o jakimś pisarzu, że jest „kongenialny”. Zrozum, kto mądry. Później nie spotkałem już tego.

— Ale „mentalność” jest bardziej rozpowszechniona niż „kongenialny” — rzekł historyk Frondy, aby się wmieszać do rozmowy. — Jestem członkiem komisji w ministerstwie oświaty, gdzie słyszałem to słowo kilka razy, toż samo w moim klubie, w klubie „Volney”, a nawet na obiedzie u pana Emila Ollivier<sup>377</sup>.

— Ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — odparł książę z udaną pokorą, ale z pychą tak głęboką, że usta jego nie mogły się wstrzymać od uśmiechu, a oczy od okrężnego błysku radości, pod którego ironią zarumienił się biedny historyk — ja, który nie mam zaszczytu należeć do ministerstwa oświaty — podjął, pieszcząc się własnymi słowami — ani do klubu „Volney” (należę tylko do „Union” i do „Jockey”), pan nie należy do „Jockey”, proszę pana? — spytał historyka, który, rumieniąc się jeszcze bardziej, przeczuwając impertynencję i nie rozumiejąc jej, zaczął drżeć na całym ciele. — Ja, który nie bywam nawet na obiadach pana Emila Ollivier, wyznaję, że nie znałem słowa „mentalność”. Jestem pewien, że i ty, Argencourt, jesteś w moim położeniu... Wiecie, czemu nie można zaprodukować dowodów winy Dreyfusa? Zdaje się dlatego, że on jest kochankiem żony ministra wojny. Mówi się o tym po cichu.

— A, myślałem, że żony premiera — rzekł pan d’Argencourt.

— Jesteście równie nudni jedni jak drudzy z tą całą sprawą — rzekła księżna de Guermantes, która na gruncie towarzyskim zawsze starała się okazać, że nie podlega niczym wpływom. — Ta rzecz nie może mieć dla mnie znaczenia z punktu widzenia Żydów z tej dobrej racji, że nigdy nie było ich między moimi znajomymi i mam nadzieję pozostać zawsze w tej błogiej nieznanomości. Ale z drugiej strony, wydaje mi się nieznośne, aby Maria Aynardowa lub Wiktoryna narzucały nam całą kupę pań Durand lub Dubois, których nie bylibyśmy nigdy znali, pod tym pretekstem, że są dobrze myślące, że nic nie kupują u Żydów lub że mają wypisane „śmierć Żydom” na parasolce. Byłam u Marii przedwczoraj. Dawniej było tam uroczko. Teraz zastaje się wszystkie osoby, których się unikało całe życie, pod pozorem, że są przeciw Dreyfusowi; i inne, o których się w ogóle nie wie, kto to taki.

— Nie, żony ministra wojny. Tak przynajmniej opowiadają w alkowach — odparł książę, używający czasem w rozmowie pewnych wyrażen, które wydawały mu się *ancien régime*<sup>378</sup>. — W każdym razie, osobiście, wiadomo jest, że ja mam poglądy wręcz przeciwne niż mój kuzyn Gilbert. Ja nie jestem feudał, jak on; spacerowałbym pod rękę z Murzynem, gdyby Murzyn był moim przyjacielem, i tyle bym się troszczył o opinię plebsu, co o zeszłoroczny śnieg; ale ostatecznie, mimo wszystko, przyznacie mi, że kiedy się ktoś nazywa Saint-Loup, nie wolno mu się bawić w prowokowanie całego świata, który, jak mówi przysłowie, ma więcej rozumu od Woltera<sup>379</sup>, a nawet od mego siostrzeńca. A zwłaszcza nie puszcza się człowiek na to, co bym nazwał akrobatyką sentymentalną, na tydzień przed balotem w klubie. To już jest przesada! I to z pewnością jego lafirynda napompuwała go w ten sposób. Wmówiła w Roberta, że to go postawi jako „intelektualistę”. Intelektualizm to jest molierowskie<sup>380</sup> „ciastko ze śmietaną” tych panów. Zresztą dało to już powód do kalamburów, dość zabawnych, ale bardzo złośliwych.

I książę zacytował po cichu księżnej i panu d’Argencourt „*Mater Semita*”, które w istocie już krążyło w Jockey Clubie, bo ze wszystkich wędrownych nasion żarcik posia-

Żyd, Antysemityzm,  
Pozycja społeczna, Obyczaje

Śmiech, Słowo

<sup>377</sup> Ollivier, Émile (1825–1913) — francuski polityk i historyk; premier (1869–1870). [przypis edytorski]

<sup>378</sup> *ancien régime* (fr.) — stare rządy; określenie systemu polityczno-społecznego Francji funkcjonującego przed rewolucją 1789. [przypis edytorski]

<sup>379</sup> Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>380</sup> Molière, właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622–1673) — aktor i najwybitniejszy komediopisarz francuski; molierowskie „ciastko ze śmietaną”: określenie z komedii Moliera *Szkola żon* (akt I, scena I), krytykowane w jego czasach jako trywialne, zostało następnie w odpowiedzi celowo użyte przez autora w *Krytyce szkoły żon* jako nonsensownie powtarzane słowa postaci markiza. [przypis edytorski]

da najmocniejsze skrzydła, pozwalające mu się zasiać na największą odległość od miejsca pochodzenia.

— Moglibyśmy spytać o wyjaśnienia pana, który robi wrażenie „wielkiej erudyty<sup>381</sup>” — rzekł książę, wskazując historyka. — Ale lepiej nie mówić o tym, zwłaszcza iż fakt jest absolutnie fałszywy. Nie jestem tak ambitny jak moja kuzynka Mirepois, która twierdzi, że może śledzić filiacje swego domu przed Chrystusem aż do pokolenia Lewi<sup>382</sup> i podejmuje się dowieść, że nigdy nie było ani kropli krwi żydowskiej w naszej rodzinie. Ale ostatecznie nie trzeba nas zanadto wodzić na pokuszenie, i to jest pewne, że uroczę poglądy mego siostrzeńca muszą robić sporo hałasu w naszej Pipidówce. Zwłaszcza że Fezensac jest chory, zatem Duras będzie prowadził wszystko, a wiecie, jaki on jest mąciwoda.

Bloch starał się przyprzeć do muru pana de Norpois w przedmiocie pułkownika Picquart.

— Nie ulega wątpliwości — odparł pan de Norpois — że jego zeznanie było potrzebne. Wiem, że taki pogląd każe rozedrzeć szaty niejednemu z moich kolegów, ale, na mój rozum, rząd miał obowiązek pozwolić mówić pułkownikowi. Nie wychodzi się z takiego impasu zwykłym piruetem lub ryzykuje się wówczas, że się wpadnie w błoto. Co do samego pułkownika, zeznania jego wywarły na pierwszej rozprawie jak najlepsze wrażenie. Kiedy się pokazał, zgrabny, w swoim uniformie szaserów<sup>383</sup>; kiedy doskonale prostym i szczerym tonem opowiadał, co widział, w co wierzył; kiedy powiedział: „Na mój żołnierski honor (tu głos pana de Norpois zadrgał lekkim patriotycznym tremolo<sup>384</sup>) takie jest moje przekonanie”, wówczas, nie da się zaprzeczyć, wrażenie było głębokie.

„Jest za Dreyfusem, nie ma cienia wątpliwości” — pomyślał Bloch.

— Ale co odjęło Picquartowi całkowicie sympatie, jakie umiał sobie pozyskać zrazu, to jego konfrontacja z archiwistą Gribelin. Kiedy usłyszano tego starego sługę, tego człowieka mającego tylko jedno słowo (tu pan de Norpois z energią szczerego przekonania podkreślił słowa, które nastąpiły); kiedy go usłyszano, kiedy ujrzano, jak patrzy swemu zwierzchnikowi w oczy, jak się nie lęka wytrzymać jego wzroku i oświadczyć mu tonem niedopuszczającym repliki: „Ech, panie pułkowniku, pan wie, że ja nigdy nie skłamałem; wie pan dobrze, że w tej chwili, jak zawsze, mówię prawdę”, wówczas wiatr się odwrócił; darmo w trakcie późniejszych rozpraw pan Picquart poruszał niebo i ziemię — zrobił kompletne fiasko.

„Nie, stanowczo jest przeciw Dreyfusowi, to murowane — powiedział sobie Bloch. — Ale jeżeli uważa Picquarta za zdrajcę, który kłamie, jak może liczyć się z jego rewelacjami i wspominać je tak, jakby był pod ich urokiem i wierzył w ich szczerłość? A przeciwnie, jeżeli widzi w nim męża sprawiedliwego, który czyni zadość swemu sumieniu, jak może sądzić, że on skłamał w momencie konfrontacji z Gribelinem?”

— W każdym razie, jeżeli ten Dreyfus jest niewinny — przerwała księżna — nie bardzo umie tego dowieść. Cóż za idiotyczne, emfaticzne<sup>385</sup> listy on pisze ze swojej wyspy. Nie wiem, czy pan Esterhazy więcej jest wart od niego, ale ma grubo inny fason w swoim stylu, inny kolor. To nie musi być przyjemne dla stronników Dreyfusa. Co za nieszczęście dla nich, że nie mogą zmienić niewinnego.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

— Słyszała ciocia słówko Oriany? — spytał namiętnie książę pani de Villeparisis.

— Owszem, bardzo zabawne.

To nie wystarczyło księciu:

— A mnie się wcale nie wydaje zabawne — rzekł — lub raczej jest mi to obojętne, czy jest zabawne, czy nie. Nie przywiązuję żadnej wagi do dowcipu.

Pan d'Argencourt protestował.

<sup>381</sup>erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową; rzecz. rodzaju męskiego. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>Lewi — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, syn patriarchy Jakuba; jego potomkowie, plemię Lewitów, tworzyli w społeczeństwie żydowskim osobną grupę kapłanów, naczelnikiem rodu był każdorazowy arcykapłan. [przypis edytorski]

<sup>383</sup>szaserzy (z fr. *chasseur*: strzelec, myśliwy) — typ piechoty, a następnie lekkiej kawalerii, istniejący w armii francuskiej od poł. XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>tremolo (muz., z wł.: drżenie) — wydobywanie wielu dźwięków o tej samej wysokości, wykonywane przez drżące ruchy smyczka, szybkie i częste szarpanie struny itp. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>emfaticzny — nacechowany emfazą, przesadną uczuciowością w wypowiedzi. [przypis edytorski]

— On nie myśli ani słowa z tego co mówi — szepnęła księżna.

— To z pewnością dla tego, że byłem posłem do Izby; nasłuchałem się tam świetnych przemówień, które nie znaczyły nic. Nauczyłem się tam cenić zwłaszcza logikę. Zapewne temu zawdzięczam, że mnie nie wybrano ponownie. Rzeczy dowcipne są mi obojętne.

— Błażeju, nie rób pana Prudhomme<sup>386</sup>, moje kochanie, wiesz dobrze, że nikt tak nie ceni dowcipu jak ty.

— Pozwól mi skończyć. Właśnie dlatego, że jestem niewrażliwy na pewien gatunek konceptów, cenię często dowcip mojej żony. Bo wychodzi najczęściej z trafnej obserwacji. Ona rozumuje jak mężczyzna, a formułuje myśli jak pisarz.

Powodem, że pan de Norpois mówił do Blocha tak, jakby byli obaj jednego zdania, było może to, że ambasador był tak dalece antydreyfusistą, iż uważając, że rząd jest nim nie dosyć, był przeciwnikiem rządu tyleż co dreyfusiści. Może to, że cel, jaki widział w polityce, był czymś głębszym, leżącym na innej płaszczyźnie, skąd dreyfusizm przedstawiał się jako szczegół bez wielkiego znaczenia, niewart zaprzętać patrioty, pochłoniętego wielką polityką zagraniczną. Może raczej to, że maksymy jego mądrości politycznej, sprowadzając się do kwestii formy, procedury, sposobności, były równie niezdolne do rozwiązania zasadniczych kwestii, jak w filozofii czysta logika niezdolna jest rozwiązać kwestii istnienia, lub że ta właśnie mądrość sprawiała, iż uważał za niebezpieczne dyskutować te zagadnienia i przez ostrożność wolał mówić jedynie o ubocznych szczegółach. Ale omyłką Blocha było przeświadczenie, że pan de Norpois, nawet gdyby był mniej ostrożny i mniejszy formalista, byłby mógł, gdyby chciał, powiedzieć mu prawdę co do roli pułkownika Henry, Picquarta, Paty de Clama i co do wszystkich punktów sprawy. Bloch nie wątpił, że pan de Norpois wie prawdę o tych wszystkich rzeczach. Jakżeby mógł jej nie znać, skoro zna ministrów? Zapewne Bloch sądził, iż prawdę polityczną mogą w przybliżeniu odgadnąć najbystrzejsze mózgi; ale wyobrażał sobie, jak większość obywateli, że ona zawsze mieszka, niewątpliwa i materialna, w tajnym dossier prezydenta Republiki i premiera, którzy udzielają jej ministrom. Otóż nawet kiedy prawda polityczna zawiera dokumenty, rzadko się zdarza, aby one miały większą wartość niż rentgenowska klisza pacjenta. Ogół sądzi, że choroba wypisana jest na niej wszystkimi głoskami, gdy w istocie klisza ta dostarcza jednego z elementów, który, obok wielu innych, stanie się substratem wniosków lekarza i przesłanką jego diagnozy. Toteż prawda polityczna, kiedy się zbliżamy do ludzi poinformowanych i kiedy nam się zdaje, że już ją chwytamy, wymyka się. Nawet później — aby pozostać przy sprawie Dreyfusa — kiedy się zdarzył fakt tak jaskrawy, jak zeznania pułkownika Henry i w następstwie jego samobójstwo, fakt ten interpretowali natychmiast w przeciwny sposób ministrowie dreyfusiści, a przeciwnie Cavaignac i Cuignet<sup>387</sup>, którzy sami odkryli fałszerstwo i poprowadzili śledztwo; co więcej, nawet pośród ministrów dreyfusistów, i to tej samej barwy, sądzących nie tylko na zasadzie tych samych aktów, ale w tym samym duchu, rola pułkownika Henry spotkała się z wykładem całkowicie sprzecznym, przy czym jedni widzieli w nim współnika Esterhazego, drudzy przeciwnie wyznaczali tę rolę Paty de Clamowi, dzielając niejako tezę swego przeciwnika Cuignet, a będąc w zupełnej sprzeczności ze swoim stronnikiem Reinachem.

Bloch mógł wydobyć z pana de Norpois tylko tyle, że, jeżeli prawdą jest, iż szef sztabu generalnego, de Boisdeffre, udzielił tajnej informacji panu Rochefort, fakt ten byłby niewątpliwie czymś bardzo godnym ubolewania.

— Niech pan będzie przeświadczony, że minister wojny musiał, *in petto*<sup>388</sup> przynajmniej, słać swojego szefa sztabu generalnego do wszystkich bogów piekieł. Oficjalne *dementi*<sup>389</sup> nie byłoby moim zdaniem pleonazmem. Ale minister wojny wyraża się bardzo

<sup>386</sup>pan Prudhomme — postać z satyrycznych rysunków i utworów komediowych Henryka Monnier, symbol głupoty francuskiego mieszczaństwa. [przypis edytorski]

<sup>387</sup>Cavaignac i Cuignet — francuski minister wojny (1898) Godefroy Cavaignac (1853–1905), który przekazał Zgromadzeniu Narodowemu dokumenty obciążające Dreyfusa, oraz kapitan Louis Cuignet (185–1936), który odkrył, że kluczowy dokument został sfalszowany przez pułkownika Henry'ego, który przyznał się do przestępstwa, gdy został przesłuchany przez Cavaignaca; Cavaignac zrezygnował ze stanowiska, ale nadal głosił o winie Dreyfusa i dołączył do grupy nacjonalistów w parlamencie, której został jednym z liderów. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>*in petto* (wl.) — w głębi duszy. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>*dementi* (fr.) — oficjalne zaprzeczenie prawdziwości jakiejś informacji. [przypis edytorski]

jaszkrawo o tym *inter pocula*<sup>390</sup>. Bywają zresztą przedmioty, w związku z którymi bardzo jest nieostrożnie stwarzać ruch niepodobny później do opanowania.

— Ale wszystkie te dokumenty są najoczywściej fałszywe — rzekł Bloch.

Pan de Norpois nie odpowiedział, ale oświadczył, że nie pochwała manifestacji księcia Henryka Orleańskiego<sup>391</sup>.

— Zresztą mogą one tylko zmacić pogodę trybunałów i rozpętać ruchy, które tak w jednym, jak w drugim kierunku, byłyby godne ubolewania. Niewątpliwie trzeba zawołać: wara! zakusom antymilitarystycznym, ale również nic nam po swarach podsycanych przez te elementy prawicowe, które, zamiast służyć idei patriotycznej, starają się ją wyzyskać dla siebie. Francja, Bogu dzięki, nie jest Meksykiem i nie tęskni do generała z *pronunciamento*<sup>392</sup>.

Bloch nie zdołał wydobyć z pana de Norpois opinii o winie Dreyfusa ani prognozy co do sądu mającego wyrokować w sprawie cywilnej będącej właśnie w toku. W zamian za to pan de Norpois z widoczną przyjemnością udzielił mu wyjaśnień co do następstw tego wyroku.

— Jeżeli będzie skazujący — rzekł ambasador — będzie prawdopodobnie skasowany, bo w procesie, gdzie zeznania świadków są tak liczne, rzadko się zdarza, aby nie zaszły uchybienia formalne, które adwokaci mogą zaczepić. Co się tyczy wybryku księcia Henryka, bardzo wątpię, aby przypadł do smaku jego ojcu.

— Myśli pan, że Chartres<sup>393</sup> jest za Dreyfusem? — spytała księżna z uśmiechem, ale tonem zgorznienia, z oczami szeroko otwartymi, z zaczerwienioną twarzą, z nosem w talerzu z ciasteczkami.

— Bynajmniej; chciałem tylko powiedzieć, że istnieje w całej tej rodzinie zmysł polityczny, którego *nec plus ultra*<sup>394</sup> można było stwierdzić u godnej podziwu księżnej Klementyny<sup>395</sup>, a który jej syn, książę Ferdynand<sup>396</sup>, zachował jako szacowne dziedzictwo. To pewne, książę Bułgarii nie byłby uściskał majora Esterhazy!

— Wolałby proste go żołnierza — szepnęła pani de Guermantes, która często jadła obiad z owym Bułgarem u księcia de Joinville i która odpowiedziała mu raz, kiedy pytał, czy jest zazdrośna: „Owszem, o bransoletki waszej książęcej mości”.

— Czy nie idzie pani dziś na bal do Saganów? — spytał pan de Norpois pani de Villeparisis, aby przeciąć rozmowę z Blochem. Poza tym Bloch dosyć spodobał się ambasadorowi, który powiedział później, nie bez naiwności i zapewne z powodu niejakich śladów maniery (mimo iż porzuconej) neohomeryckiej, pozostałych w języku Blocha: „Dosyć zabawny jest z tym swoim stylem trochę przestarzałym, trochę uroczystym. Mało brak, aby powiedział: »Cne siostry«, jak Lamartine albo Jean-Baptiste Rousseau<sup>397</sup>. To jest dość rzadkie u dzisiejszej młodzieży, a nawet było rzadkie w poprzedniej generacji. My byliśmy raczej trochę romantyczni”. Ale mimo iż partner wydał mu się dość osobliwy, pan de Norpois uznał, że rozmowa trwała aż nazbyt długo.

— Nie, drogi panie, nie chodzę już na bale — odparła pani de Villeparisis z ładnym uśmiechem starej kobiety. — A wy idziecie? To w sam raz na wasze lata — dodała, obejmując wspólnym spojrzeniem pana de Châtellerault, jego przyjaciela i Blocha. Mnie także zaproszono — rzekła, udając dla żartu, że się tym pyszni. — Zaproszono mnie nawet osobiście („Zaproszono” to znaczyło: księżna de Sagan).

<sup>390</sup>*inter pocula* (łac.) — dosł. między kubkami; w trakcie spotkania przy alkoholu. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>Henryk Orleański (1867–1901) — francuski książę, syn Roberta Orleańskiego, księcia Chartres, oraz księżniczki Franciszki Orleańskiej; przekonany o winie Dreyfusa, publicznie pogratulował Esterhazemu po jego niewinnieniu w lutym 1898. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>*pronunciamento* (hiszp. dosł.: oświadczenie) — rodzaj wojskowego buntu a. zamachu stanu, który zaczyna się od publicznej deklaracji wypowiedzenia posłuszeństwa rządowi dokonanej przez grupę spiskowców oczekujących następnie na poparcie reszty sił zbrojnych; *pronunciamento* było charakterystyczne dla Hiszpanii, Portugalii i krajów Ameryki Łacińskiej, szczególnie w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>Robert Orleański, książę Chartres (1840–1910) — francuski arystokrata, syn Ferdynanda Filipa Orleańskiego, młodszy brat Filipa, księcia Paryża pretendenta do tronu Francji. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>*nec plus ultra* a. *non plus ultra* (łac.) — nic ponad to; kraniec; szczyt doskonałości. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>Klementyna Orleańska (1817–1907) — księżniczka francuska, księżna Saksonii, córka Ludwika Filipa I, króla Francuzów. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>Ferdynand I Koburg (1861–1948) — książę Bułgarii (od 1887), następnie car Bułgarów (1908–1918), syn Augusta Koburga (1818–1881), brata króla Portugalii Ferdynanda II, oraz Klementyny Orleańskiej (1817–1907). [przypis edytorski]

<sup>397</sup>Rousseau, Jean-Baptiste (1670–1741) — francuski dramaturg i poeta. [przypis edytorski]

— Ja nie mam zaproszenia — rzekł Bloch, myśląc że pani de Villeparisis ofiaruje mu się wystarać o nie i że pani de Sagan będzie szczęśliwa powitać u siebie przyjaciela kobiety, którą była zaprosić osobiście.

Margrabina nie odpowiedziała nic, a Bloch nie poruszał już tego tematu, bo miał z nią poważniejszą sprawę do obrobienia, w którym to celu zaprosił się na pojutrze. Usłyszawszy mianowicie, jak dwaj młodzi panicze mówią, że się podali do dymisji z klubu przy ulicy Royale, gdzie wpuszczają byle kogo, Bloch chciał prosić pani de Villeparisis, aby mu tam wyrobiła przyjęcie.

— Ci Sagan, nieprawdaż, to szczyt fałszywej elegancji, straszne snoby? — rzekł sarkastycznie.

— Ależ nie, to jest to, co mamy najlepszego na składzie w tym rodzaju — odparł pan d'Argencourt, który przyswoił sobie wszystkie paryskie koncepty.

— Zatem — rzekł Bloch na wół ironicznie — to jest to, co się nazywa „uroczystość”, wielkie światowe wydarzenie sezonu.

Pani de Villeparisis rzekła wesoło do pani de Guermantes:

— Powiedz, czy to taka światowa uroczystość: bal u pani de Sagan?

— Nie mnie trzeba o to pytać — odparła ironicznie księżna — nie doszłam jeszcze do zgłębienia tego, co to jest światowa uroczystość. Zresztą rzeczy światowe to nie jest moja specjalność.

— A! ja myślałem przeciwnie — rzekł Bloch, który wyobrażał sobie, że pani de Guermantes mówi serio.

Ku wielkiej rozpaczy pana de Norpois Bloch zadawał mu dalej mnóstwo pytań w kwestii oficerów, których nazwiska powtarzały się najczęściej w sprawie Dreyfusa. Ambasadador oświadczył mu, że „na oko” pułkownik du Paty de Clam robi na nim wrażenie trochę mętnej głowy i że nie był może najszczęśliwiej wybrany do prowadzenia śledztwa w tej delikatnej sprawie, wymagającej tyle zimnej krwi i tyle taktu.

— Wiem, że partia socjalistyczna domaga się jego skalpu, zarówno jak natychmiastowego wypuszczenia na wolność jeńca z Diabelskiej Wyspy<sup>398</sup>. Ale ja sądzę, że nie jesteście jeszcze w tym położeniu, abyśmy mieli słuchać dyktatu panów Gérault-Richard *et consortes*<sup>399</sup>. Dotychczas cała ta sprawa to butla atramentu. Nie powiadam, aby tak z jednej, jak z drugiej strony nie było do ukrycia dosyć szpetnych paskudztw. Nie twierdzę nawet, aby niektórzy mniej lub więcej bezinteresowni protektorzy pańskiego klienta nie mogli mieć dobrych intencji; ale wiadomo panu, że piekło jest nimi wybrukowane — dodał ambasador ze sprytnym spojrzaniem. — Zasadniczą rzeczą jest, aby rząd sprawiał wrażenie, że nie jest w rękach lewicowych frakcji i że nie musi się poddać ze związanymi rękami i nogami pogróżkom jakiejś wątpliwej armii pretorianów<sup>400</sup>, która, niech mi pan wierzy, nie jest armią. Rozumie się samo przez się, że gdyby wyszedł na jaw nowy fakt, przystąpiono by do rewizji. Oczywiście tego bije w oczy. Domagać się tego znaczy wyważać otwarte drzwi. W owym dniu rząd potrafi przemówić jasno i głośno lub też zapanłby się tego, co jest jego zasadniczym przywilejem. Kalambury nie wystarczą. Trzeba będzie dać sędziów Dreyfusowi. I to nie będzie rzeczą trudną, bo mimo iż przyzwyczajono się w naszej pięknej Francji, tak chętnej do oczerniania samej siebie, wierzyć lub pozwalać wierzyć, iż aby usłyszeć słowa prawdy i sprawiedliwości, nieodzowne jest przebyć kanał la Manche, co bardzo często jest okrężną drogą wiodącą nad Sprewę, sędziowie są nie tylko w Berlinie. Ale, skoro raz akcja rządu się wyłoni, czy potrafcie być rządowi posłuszni? Kiedy was wezwie, abyście dopełnili obywatelskiego obowiązku, czy potrafcie go usłuchać, czy skupicie się dokoła niego? Czy na jego patriotyczny apel potrafcie nie pozostać głusi i odpowiedzieć: „Jestem!”?

Pan de Norpois zadawał te pytania Blochowi z gwałtownością, która onieśmielając mojego kolegę, pochlebiała mu zarazem; ambasador bowiem robił wrażenie, że zwraca

<sup>398</sup>*Diabelska Wyspa* — francuska kolonia karna u wybrzeży Ameryki Południowej, w Gujanie Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>*et consortes* (łac.) — i towarzysze; i współnicy. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>*pretorianie* — straż przyboczna cesarza rzymskiego; znani ze swoich intryg pałacowych, wywierali wpływ na politykę cesarską, wielokrotnie sami decydowali, kto zostanie kolejnym cesarzem, często najpierw uśmiercając poprzedniego; formacja rozwiązana przez Konstantyna Wielkiego w 312. [przypis edytorski]

się w jego osobie do całego stronnictwa, że zadaje Blochowi pytania tak, jakby ów był piastunem sekretów partii i mógł przyjąć odpowiedzialność za decyzje, które zapadną.

— Gdybyście nie złożyli oręża — ciągnął pan de Norpois, nie czekając kolektywnej odpowiedzi Blocha — gdybyście, nim jeszcze obesznie dekret zarządzający rewizję procesu, posłuszni jakimś zdradzieckiemu hasłu, nie złożyli broni, ale zaciekli się w jałowej opozycji, która wydaje się niektórym *ultima ratio*<sup>401</sup> polityki, gdybyście się cofnęli do swego namiotu<sup>402</sup> i spalili okręty, byłoby to z waszą wielką szkodą. Czy jesteście więźniami siewców rozkładu? Czyście się im zaprzędali?

Bloch był w kłopotcie, co odpowiedzieć; ale pan de Norpois nie zostawił mu na to czasu:

— Jeżeli, przypuścimy to, prawda jest w przeciwnym obozie; jeżeli posiadacie trochę tego, czego, niestety, jak widzę, brakuje niektórym z waszych wodzów i przyjaciół, jakiegoś zmysłu politycznego, wówczas w tym samym dniu, w którym wyrok sądu zostanie zakwestionowany, o ile się nie dacie przywieść na hak ludziom łowiącym ryby w mętnej wodzie, zdobyliście twierdzę. Nie ręczę, czy cały sztab generalny zdoła wyjść z tego cało, ale to jest już dość pięknie, jeżeli bodaj część zdoła ocalić głowę, nie podkładając ognia pod prochy i nie powodując katastrofy. Rozumie się zresztą samo przez się, że do rządu należy stanowić prawo i zamknąć zbyt długą listę nieukaranych zbrodni, oczywiście nie w drodze posłuchu podżeganiom socjalistów, czy jakiej bądź soldateski<sup>403</sup> — dodał ambasador, patrząc Blochowi w oczy, może z owym właściwym wszystkim konserwatystom instynktem zabezpieczenia sobie względów w przeciwnym obozie. — Akcja rządowa musi iść swoim torem, bez troski o pokrzykiwania, skądkolwiek by pochodziły. Rząd nie jest, Bogu dzięki, ani pod rozkazami pułkownika Driant<sup>404</sup>, ani, na przeciwnym biegunie, pana Clemenceau<sup>405</sup>. Trzeba przygiąć karku zawodowym agitatorom i nie dać im podnieść głowy. Francja w swojej ogromnej większości pragnie pracy i ładu! W tym względzie moje wyznanie wiary jest jasne. Ale nie trzeba się bać oświecić opinię; a jeżeli parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais<sup>406</sup>, rzuci się na łeb na szyję w wodę, godziłoby się pokazać im, że ta woda jest mętna, że ją zmącił rozmyślnie posiew obcego chowu, aby zasłonić niebezpieczne kulisy. I rząd nie powinien robić wrażenia, że porzuca swą bierność jakby pomimo woli, kiedy będzie wykonywał prawo będące zasadniczym jego prawem: mam na myśli prawo wprawienia w ruch ramienia Sprawiedliwości. Rząd przyjmie wszystkie wasze sugestie, panowie. Jeżeli stwierdzone zostanie, że zaszła omyłka sądowa, rząd będzie pewien przygniatającej większości, która mu pozwoli na rozmach w działaniu.

— Pan, proszę pana — rzekł Bloch, zwracając się do pana d'Argencourt, któremu wymieniono wraz ze wszystkimi jego nazwisko — pan jest z pewnością dreyfusistą; za granicą wszyscy są za Dreyfusem.

— To jest sprawa, która obchodzi tylko Francuzów, tylko ich, nieprawdaż? — odparł pan d'Argencourt z ową specjalną impertynencją, która polega na tym, aby używać partnerowi mniemania, którego on najoczywiściej nie podziela, skoro właśnie wyraził sąd przeciwny.

Bloch spiekł raka; pan d'Argencourt uśmiechnął się, patrząc dokoła siebie, a o ile ten uśmiech, podczas gdy go kierował na innych gości, był niezycliwy dla mego kolegi, zabarwił się serdecznością, spoczawszy w końcu na Blochu, aby mu odjąć pozór do obrazy za słowa, które mimo to pozostały okrutne. Pani de Guermantes szepnęła panu d'Argencourt coś, czego nie słyszałem, ale co się musiało odnosić do religii Blocha; bo

Obcy, Obyczaje

<sup>401</sup>*ultima ratio* (łac.) — ostatni argument, środek ostateczny. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>*gdybyście się cofnęli do swego namiotu* — nawiązanie do postawy Achillesa w *Iliadzie*, który w geście sprzeciwu wobec naczelnego wodza Agamemnona pozostawał w swoim namiocie, nie biorąc udziału w walkach. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>*soldateska* — pogardl.: niedyscyplinowane, nieokrzesane wojsko; rządy militarystów. [przypis edytorski]

<sup>404</sup>*Driant, Émile Augustin Cyprien* (1855–1916) — francuski pisarz, polityk i oficer; zięć nacjonalistycznego generała Boulanger'a, ministra wojny w latach 1886–1887. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>*Clemenceau, Georges* (1841–1929) — francuski pisarz, lekarz i polityk; premier (1906–1909 i 1917–1920); w trakcie sprawy Dreyfusa był jednym z czołowych zwolenników rewizji procesu. [przypis edytorski]

<sup>406</sup>*Rabelais, François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*; *parę owiec, z tych, które tak dobrze znał nasz Rabelais*: odniesienie do fragmentu *Gargantui i Pantagruela* (IV 5–8), w którym Panurg mści się na kupcu: kupuje od niego najpiękniejszego barana, którego wrzuca do morza, a za baranem wskakuje całe stado kupca. [przypis edytorski]

w tej chwili po twarzy księżnej przebiegł ów wyraz, któremu strach, iż dotycząca osoba mogła coś spostrzec, daje coś niepewnego i fałszywego, z domieszką owej ciekawej i złośliwej wesołości, jaką budzi grupa ludzka zasadniczo nam obca.

Aby się odegrać, Bloch zwrócił się do księcia de Châtellerault:

— Pan, proszę pana, jakkolwiek Francuz, wie pan z pewnością, że zagranica jest za Dreyfusem, mimo iż twierdzą, że we Francji nie wie się nigdy, co się dzieje za granicą. Zresztą wiem, że z panem można się dogadać. Saint-Loup mówił mi to.

Ale młody książę widział, że wszyscy zgodnie są przeciw Blochowi; tchórzliwy, jak często ludzie bywają w „świecie”, obdarzony zresztą ciętym dowcipem, jak gdyby przejętym atawistycznie od pana de Charlus, rzekł:

— Daruje pan, że nie będę z nim dysputował o Dreyfusie, ale mam za zasadę mówić o tej sprawie jedynie z potomkami Jafeta<sup>407</sup>.

Wszyscy się uśmiechnęli, z wyjątkiem Blocha, mimo iż często zdarzało mu się wygłaszać ironiczne aluzje do swego semickiego pochodzenia, co do swojej genealogii wiodącej do stóp góry Synaj. Ale w miejsce jednego z tych powiedzeń, które widocznie nie były gotowe, sprężyna jego duchowej maszyny sprowadziła na usta Blocha inne słowa. I dosłyszano tylko to: „Ale skąd pan może wiedzieć? Kto panu powiedział?”, tak jak gdyby był synem zbrodniarza. Z drugiej strony, zważywszy jego fizys<sup>408</sup> i jego nazwisko niemające nic szczególnie chrześcijańskiego, zdumienie jego trąciło pewną naiwnością.

Ponieważ deklaracja pana de Norpois nie zadowoliła Blocha całkowicie, zbliżył się do archiwisty i spytał, czy nie widuje się czasem u pani de Villeparisis pana du Paty de Clam<sup>409</sup> albo Józefa Reinach<sup>410</sup>. Archiwista nie odpowiedział; był nacjonalistą i nieustannie kładł w uszy margrabinie, że niebawem przyjdzie do wojny socjalnej i że powinna być ostrożniejsza w wyborze stosunków. Pomyślał, czy Bloch nie jest tajnym emisariuszem syndykatu, przybyłym celem wywiadu; toteż poszedł natychmiast powtórzyć pani de Villeparisis pytania Blocha. Margrabina uznała, że Bloch jest co najmniej źle wychowany, a może niebezpieczny dla sytuacji pana de Norpois. Chciała zarazem dać satysfakcję archiwście, jedynemu człowiekowi, którego się trochę bała i który katechizował ją bez wielkiego sukcesu (co rano czytał jej artykuł pana Judet w „Le Petit journal”). Pragnąc tedy okazać Blochowi, że nie ma po co wracać, znalazła na poczekaniu w swoim światowym repertuarze scenę, za pomocą której wielka dama ekspediuje kogoś za drzwi; scenę niewymagającą zgoła rozkazująco wyciągniętej ręki ani płomiennych oczu, jakby to sobie można wyobrazić. Kiedy Bloch podszedł, aby się pożegnać, margrabina, zanurzona w wielkim fotelu, zaledwie że się ocknęła niby to z mimowolnej drzemki. Zamglone jej oczy miały słaby i uroczy blask perły. Pożegnanie Blocha, ledwie znacząc na twarzy margrabiny omdlewający uśmiech, nie wyrwało jej ani słowa; nie wyciągnęła doń ręki. Scena ta wprawiła Blocha w niesłychane zdumienie, ale ponieważ krąg stojących dokoła osób był jej świadkiem, nie sądził, aby ją mógł przeciągać bez ujmy dla siebie; aby wyrwać margrabinę z bierności, sam podał rękę, której ona nie kwapiła się podjąć. Pani de Villeparisis czuła się zgorzonna; ale zapewne, dając doraźną satysfakcję archiwście oraz obozowi antydreyfusistów, chciała jednak zabezpieczyć sobie przyszłość; poprzestała na spuszczeniu powiek i przymknięciu oczu.

— Zdaje się, że śpi — rzekł Bloch do archiwisty, który, czując poparcie margrabiny, przybrał wyraz oburzony. — Moje uszanowanie pani — krzyknął Bloch.

Margrabina poruszyła lekko wargami, niby umierająca, która chciałaby otworzyć usta, ale już nie poznaje. Następnie odwróciła się, kipiąca odzyskanym życiem, ku margrabie-

<sup>407</sup>Jafet — postać biblijna z *Księgi Rodzaju*, jeden z synów Noego; trzej synowie Noego: Sem, Cham i Jafet, dali początek trzem grupom ludów, zamieszkujących trzy części świata i składających się na całą ludzkość; Jafet miał być przodkiem ludów indoeuropejskich, podczas gdy Sem przodkiem ludów semickich, w tym Żydów. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>fizys (z łac.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>409</sup>Paty de Clam, Armand du (1853–1916) — francuski oficer, amator-grafolog, jedna z kluczowych postaci w sprawie Dreyfusa; wskazał Alfreda Dreyfusa, jedynego Żyda w Sztabie Generalnym, jako głównego podejrzanego o szpiegostwo, stwierdził zgodność jego próbki pisma z obciążającym dokumentem; zastraszał pułkownika Picquarta, głównego demaskatora w tej sprawie; w *J'Accuse!*... został przez Zolę wskazany jako główny uczestnik spisku; w 1899 przed ponownym procesem Dreyfusa został aresztowany; po kilku miesiącach ulaskawiony w ramach amnestii dla wszystkich zaangażowanych w sprawę. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>Reinach, Joseph (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Dreyfusa. [przypis edytorski]



mu d'Argencourt, podczas gdy Bloch oddalał się, przekonany, że ona jest „zramolała”. Ciekawość i chęć przeniknięcia tak dziwnego zdarzenia zaprowadziły go do margrabiny po kilku dniach. Przyjęła go bardzo uprzejmie, bo była dobra kobieta, bo archiwisty nie było, zależało jej na bluetce<sup>411</sup>, którą Bloch miał u niej wystawić, a wreszcie, bo odegrała już swoją scenę wielkiej damy, powszechnie podziwianą i komentowaną tego samego wieczora w różnych salonach, ale wedle wersji niemającej już nic wspólnego z prawdą.

— Mówiła pani o *Siedmiu księżniczkach*; wie księżna, czym zresztą nie mam powodu się pysznić, że autor tego... jak mam powiedzieć, tego „dowodu rzeczowego” jest moim ziomkiem — rzekł pan d'Argencourt z ironią niepozbawioną odcienia satysfakcji, iż zna lepiej od innych autora utworu będącego tematem rozmowy. — Tak, to jest z profesji Belg — dodał.

— Doprawdy? Nie, nie będziemy pana posądzali o to, aby pan miał jakikolwiek udział w tych *Siedmiu księżniczkach*. Szczęściem dla pana i dla pańskich ziomków, nie jest pan w niczym podobny do autora tej bzdury. Znam Belgów bardzo miłych: pan, pański król, trochę nieśmiały, ale pełen inteligencji, moi kuzynowie Ligne i wielu innych, ale na szczęście nie posługujecie się tym samym językiem, co autor *Siedmiu księżniczek*. Zresztą, jeżeli mam być szczerą, za dużo mówimy o tym, bo przede wszystkim to jest nic. To są ludzie, którzy starają się być mętni, a w potrzebie gotowi są być śmieszni, aby pokryć to, że mają pustkę w głowie. Gdyby w tym coś było, powiem panu, że ja się nie lękam niektórych śmiałości — dodała tonem serio — z chwilą, kiedy gdzieś jest myśl. Nie wiem, czy pan widział sztukę pana Borelli. Są ludzie, których to raziło; ja, gdyby mnie nawet miano ukamienować — dodała księżna, nie zdając sobie sprawy, że nie ryzykuje zbyt wiele — przyznając, że mi się to wydało nieskończenie ciekawe. Ale *Siedem księżniczek*! Daremnie jedna z nich darzy łaskami mego siostrzeńca, niepodobna mi posunąć tak daleko uczuć rodzinnych...

Księżna urwała, bo wchodząca właśnie dama to była wicehrabina de Marsantes, matka Roberta. Pani de Marsantes miała w Faubourg Saint-Germain opinię istoty wyższej, anielskiej rezygnacji i dobroci. Słyszałem o tym i nie miałem specjalnego powodu się dziwić, nie wiedząc wówczas, że to jest rodzona siostra księcia de Guermantes. Później dziwiło mnie zawsze, ilekroć się dowiedziałem w tym towarzystwie, że kobiety melancholijne, czyste, otoczone kultem, czczone na kształt idealnych świętych z witraża, wykwitły z tej samej genealogicznej gałęzi, co ich bracia, brutalni, rozwiązli i plugawi. Zdawało mi się, że bracia i siostry, kiedy są zupełnie podobni z twarzy (jak książę de Guermantes i pani de Marsantes), powinni by mieć jedną inteligencję, jedno serce, jak osoba, która może mieć dobre lub złe chwile, ale od której nie można się spodziewać szerokich widnokręgów, jeżeli jest ograniczona, ani wzniosłej abnegacji, jeżeli ma twarde serce.

Pani de Marsantes uczęszczała na wykłady Brunetière'a<sup>412</sup>. Budziła entuzjazm Faubourg Saint-Germain, budując zarazem salony życiem świętej. Ale morfologiczne powinowactwo ładnego nosa i przenikliwych oczu kazałyby ją jednakże zaliczyć do tej samej intelektualnej i moralnej rodziny co brata jej, księcia de Guermantes. Nie mogłem uwierzyć, iż sam fakt, że ktoś jest kobietą i może to, że ta kobieta była nieszczęśliwa i że ma za sobą sympatię opinii, mógł sprawić, aby ktoś był tak różny od swoich bliskich, niby w *Chansons de geste*<sup>413</sup>, gdzie wszystkie cnoty i wdzięki skupiają się w siostrze dzikich braci. Zdawało mi się, że natura, bardziej skrupowana od starych poetów, musi się posługiwać niemal wyłącznie składnikami wspólnymi całej rodzinie; nie umiałem przypisywać naturze takiej zdolności odnawiania się, aby z materiałów analogicznych do tych, co składały<sup>414</sup> głupca i chama, stworzyła wielki umysł bez najmniejszej domieszki głupoty, świętą bez żadnej zmazy brutalności.

Pani de Marsantes miała białą jedwabną suknię w wielkie palmy, od których odcinały się czarne kwiaty. Przed trzema tygodniami straciła kuzyna, pana de Montmorency, co jej nie przeszkadzało robić wizyt i chodzić na mniejsze obiady, ale w żałobie. To była

<sup>411</sup>bluetka (z fr.) — bezpretensjonalny drobiazg muzyczny. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>Brunetière, Ferdinand (1849–1906) — francuski krytyk i historyk literatury; członek Akademii Francuskiej (od 1893). [przypis edytorski]

<sup>413</sup>Chansons de geste — średniowieczne starofrancuskie poematy rycerskie, mówiące o przygodach historycznych i legendarnych bohaterów. [przypis edytorski]

<sup>414</sup>składać coś (daw.) — stanowić coś, tworzyć coś; składać się na coś. [przypis edytorski]

wielka dama. Przez atawizm dusza jej była wypełniona czczością egzystencji dworskich, ze wszystkim, co w nich jest powierzchownego i formalistycznego.

Pani de Marsantes nie miała siły długo oplakiwać ojca i matki, ale za nic na świecie nie włożyłaby nic kolorowego w ciągu miesiąca po śmierci kuzyna. Była dla mnie niezmiernie uprzejma, ponieważ byłem przyjacielem Roberta i ponieważ nie byłem z tego samego świata. Dobroci tej towarzyszyła udana nieśmiałość, objawiająca się chwilowym powściągnięciem głosu, spojrzenia, myśli, które kobieta ściąga ku sobie niby zbyt obfitą spódnicę, aby nie zabierać za wiele miejsca, aby zachować linię prostą — mimo iż giętką — jak żąda dobre wychowanie. Dobre wychowanie, którego nie trzeba zresztą brać dosłownie: wiele z tych dam osuwa się bardzo szybko w wyuzdanie, nie tracąc nigdy dziecinnej niemal poprawności manier. Pani de Marsantes była nieco drażniąca w rozmowie, bo za każdym razem, kiedy chodziło o kogoś „nieurodzonego”, jak na przykład Bergotte, Elstir, mówiła skandując słowa, podkreślając je i psalmodiując na dwa odmienne tony, z modulacją właściwą Guermantom: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt* spotkać pana Bergotte, poznać pana Elstir”; czy aby kazać podziwiać swoją pokorę, czy przez to samo upodobanie, jakie znajdował pan de Guermantos w antycznych formach, w proteście przeciw dzisiejszemu brakowi wychowania, nie dosyć posługującemu się słowem „zaszczycony”. Która bądź z tych dwóch racji była istotną, czuło się, iż kiedy pani de Marsantes mówi: „Miałam *zaszczyt*, wielki *zaszczyt*”, dama ta sądzi, iż spełnia wielką rolę, pokazuje, iż umie witać nazwiska ludzi wartościowych, tak jakby witała ich samych w swoim zamku, gdyby się znaleźli gdzieś w sąsiedztwie. Z drugiej strony, ponieważ miała liczną rodzinę i bardzo ją kochała, ponieważ powolna w dykcji, a lubiąca się w wyjaśnieniach, chciała wykladać gruntownie pokrewieństwa, co chwila cytowała (bez najmniejszej chęci popisu, szczerze lubiła mówić jedynie o wzruszających chłopach i o wzniosłych gajowych) wszystkie mediatyzowane<sup>415</sup> rody Europy, czego mniej świetne od niej osoby nie mogły jej przebaczyć i — o ile były trochę intelektualne — drwiły z jej głupoty.

Na wsi ubóstwiano panią de Marsantes dla jej dobroczynności, ale zwłaszcza dlatego, że czystość jej krwi, w której od kilku pokoleń skupiało się jedynie to, co było największego w historii Francji, odejmowała jej wzięciu wszystko, co lud nazywa „fasonami”, dając mu zupełną prostotę. Nie lękała się uściśnąć biednej kobiety, która była w nędzy, i kazała jej przyjść po worek drzewa do zamku. Była to — powiadano — doskonała chrześcijanka. Pragnęła dla Roberta kolosalnie bogatego małżeństwa. Być wielką damą znaczy grać wielką damę; to znaczy, po części, grać prostotę. To jest gra, która kosztuje niezmiernie drogo; zwłaszcza że prostota czaruje jedynie pod tym warunkiem, żeby inni wiedzieli, iż ktoś mógłby nie być prosty, to znaczy, że jest bardzo bogaty. Mówiono mi potem, kiedy opowiedział, że widział panią de Marsantes: „Musiał pan sobie uprzytomnić, że ona była kiedyś czarująca”. Ale prawdziwa piękność jest tak swoista, tak nowa, że nie poznaje się jej jako piękności. Powiedziałem sobie jedynie tego dnia, że pani de Marsantes ma maleńki nosek, bardzo niebieskie oczy, długą szyję i smutny wyraz twarzy.

— Słuchaj — rzekła pani de Villeparisis do księżnej de Guermantos — sądzę, że za chwilę zjawi się tutaj kobieta, której nie masz ochoty poznać; wolę cię uprzedzić, żeby cię to nie zaskoczyło. Zresztą możesz być spokojna, nigdy nie przyjmę jej później, ale ma przyjść tylko jeden raz, dzisiaj. To żona Swanna.

Pani Swann, widząc proporcje, jakie przybierała sprawa Dreyfusa i bojąc się, aby pochodzenie męża nie obróciło się przeciwko niej, błagała go, aby nigdy już nie mówił o niewinności skazanego. Kiedy Swanna nie było, posuwała się dalej i głosiła *credo*<sup>416</sup> najżarliwszego nacjonalizmu; naśladowała w tym zresztą panią Verdurin, w której mieszczański i skryty antysemityzm obudził się i doszedł do prawdziwego szału. Pani Swann zyskała na swojej postawie to, że weszła do paru antysemickich lig kobiecych, które zaczynały się tworzyć, oraz nawiązała stosunki z licznymi osobami z arystokracji. Może się wydać dziwne, że daleka od ich naśladowania księżna de Guermantos, tak zaprzyjaźniona ze Swannem, wytrwale opierała się jego nietajonej chęci przedstawienia jej swojej żony. Ale ujrzymy później, że to był skutek swoistego charakteru księżnej, która sądziła, że

<sup>415</sup>mediatyzowany (hist.) — pozbawiony praw udzielnych (w związku z wcieleniem księstwa do większego państwa). [przypis edytorski]

<sup>416</sup>credo (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

„nie musi” zrobić takiej a takiej rzeczy i narzucała despotycznie to, co zdecydowała jej światowa „wolna wola”, bardzo arbitralna.

— Dziękuję, że mnie ciocia uprzedziła — odparła księżna. — To by mi było w istocie bardzo przykre. Ale ponieważ ją znam z widzenia, zerwę się na czas.

— Zapewniam cię, Oriano, ona jest bardzo miła, to wyborna osoba — rzekła pani de Marsantes.

— Nie wątpię, ale nie czuję żadnej potrzeby sprawdzać tego osobiście.

— Czy jesteś zaproszona do lady Israel? — spytała pani de Villeparisis księżnej, aby odmienić rozmowę.

— Ależ, Bogu dzięki, ja jej nie znam — odparła pani de Guermantes. — To naszej Marii trzeba o to pytać. Ona ją zna, nigdy nie mogłam pojąć czemu.

— Znałam ją w istocie — odparła pani de Marsantes — wyznaję swoje błędy. Ale jestem zdecydowana jej już nie znać. Zdaje się, że to jedna z najgorszych, i nie kryje się z tym. Zresztą wszyscy byliśmy zbyt ufni, zbyt gościnni. Noga moja już nie postanie u nikogo z tej nacji. Zamykało się drzwi starym kuzynom z prowincji, ludziom tej samej krwi, a otwierało się je Żydom. Widzimy teraz, jak nam za to dziękują. Niestety, nie mam prawa nic mówić: mam czarującego syna, który, jak młody wartogłów<sup>417</sup>, wygłasza wszystkie możliwe niedorzeczności — dodała, słysząc, że pan d'Argencourt robi aluzję do Roberta. — Ale *à propos* Roberta, czy ty go nie widziałaś? — spytała, zwracając się do pani de Villeparisis — ponieważ to jest sobota, myślałam, że mógłby wpaść na dwadzieścia cztery godzin do Paryża i w takim razie zaszedłby cię z pewnością odwiedzić.

W rzeczywistości pani de Marsantes myślała, że jej syn nie dostał pozwolenia; że jednak w każdym razie wiedziała, iż gdyby je miał, nie zaszedłby do pani de Villeparisis, miała nadzieję, udając, iż wierzy, że by go tutaj zastała, zyskać mu przebaczenie u podejrzliwej ciotki za wszystkie wizyty, o które ją oszukał.

— Robert tutaj! Ależ ja nie miałam nawet słówka od niego; zdaje się, że go nie widziała od czasu Balbec.

— Jest taki zajęty, tyle ma do roboty — rzekła pani de Marsantes.

Niedostrzegalny uśmiech sfalował rzęsy pani de Guermantes; patrzyła na kółko, które końcem parasolki kreśliła na dywanie. Za każdym razem, kiedy książę zaniedbywał zbyt jawnie żonę, pani de Marsantes brała z rozgłosem stronę szwagierki przeciw bratu. Ta zachowywała jej opiekę we wdzięcznej i urażliwej pamięci i niezbyt się martwiła wybrykami Roberta. W tej chwili drzwi otwarły się znowu i wszedł Robert.

— O, kiedy mowa o wilku... — rzekła pani de Guermantes, igrając z nazwiskiem Saint-Loup<sup>418</sup>.

Pani de Marsantes, siedząc plecami do drzwi, nie widziała wchodzącego syna. Kiedy go spostrzegła, radość w tej matce zatrzepotała naprawdę jak skrzydło, ciało pani de Marsantes na wpeł się uniosło, twarz jej zadrgała, wlepiła w Roberta zachwycone oczy:

— Jak to, przyszedłeś! Co za szczęście! Co za niespodzianka!

— A, kiedy mowa o wilku, rozumiem — rzekł dyplomata belgijski, śmiejąc się do rozpuku. — Saint-Loup.

— To rozkoszne — rzekła sucho pani de Guermantes, która nie cierpiała kalamburów i zaryzykowała ten, jedynie niby to kpiąc z samej siebie.

— Jak się masz, Robercie — rzekła — więc tak zapomina się o swojej ciotce.

Rozmawiali chwilę z sobą, i z pewnością o mnie, bo podczas gdy Saint-Loup zbliżał się do matki, pani de Guermantes obróciła się do mnie.

— Dzień dobry — rzekła — jak się pan ma.

Spuściła na mnie deszcz światła swego błękitnego spojrzenia, zawahała się chwilę, rozwinęła i wyciągnęła lodygę swego ramienia, pochyliła naprzód ciało, które wyprostowało się szybko wstecz, niby drzewko, które ktoś nagiął i które, zwolnione, wraca do naturalnej pozycji. Tak robiła pod ogniem spojrzeń Roberta, który ją obserwował i czynił na odległość rozpaczliwe wysiłki, aby uzyskać od ciotki jeszcze coś więcej. Bojąc się, aby rozmowa nie upadła, przyszedł ją podsycić i odpowiedział za mnie:

<sup>417</sup>wartogłów (daw.) — osoba lekkomyślna, niezbyt zrównoważona, lekkoduch. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>igrając z nazwiskiem Saint-Loup — we francuskim „Saint Loup” oznacza: święty Lupus (biskup Troyes z IV-V w.), jest także nazwą wielu miejscowości nazwanych na jego cześć we Francji; jako rzecz. pospolity słowo loup (łac. lupus) oznacza wilka. [przypis edytorski]

— Nie miewa się zbyt dobrze, jest trochę zmęczony; zresztą może by się miewał lepiej, gdyby cię częściej widywał, bo nie ukrywam ci, że lubi cię widzieć.

— A, ależ to bardzo uprzejmie! — rzekła pani de Guermantes tonem rozmyślnie banalnym, tak jakby jej przyniósł płaszcz. — Bardzo mi to pochlebia.

— Pójdę trochę usiąść koło matki, zostawiam ci swoje krzesło — rzekł Saint-Loup, zmuszając mnie w ten sposób, abym usiadł przy jego ciotce.

Zamilkliśmy oboje.

— Spotykam pana czasem rano — rzekła, jak gdyby mi oznajmiała nowinę i jakbym ja jej nie widział. — To bardzo dobre dla zdrowia.

— Oriano — rzekła półgłosem pani de Marsantes — mówiłaś, że idziesz do pani de Saint-Ferréol; czy byłabyś tak uprzejma powiedzieć jej, żeby mnie nie czekała z obiadem: zostanę w domu, skoro mam Roberta. Śmiem nawet prosić cię jeszcze o coś: powiedz, przechodząc, żeby kupiono tych cygar, które Robert lubi; to się nazywa „Corona”, nie ma ich już w domu.

Robert zbliżył się, usłyszał tylko nazwisko pani de Saint-Ferréol.

— Co to jest znowu takiego pani de Saint-Ferréol? — spytał tonem ostentacyjnego zdziwienia, przybrał bowiem manierę ignorowania wszystkiego, co tyczy „świata”.

— Ależ, kochanie, wiesz dobrze — rzekła matka — to siostra pana de Vermandois; to ona ci dała ten ładny bilardzik, który tak lubieś.

— Jak to, to jest siostra Vermandois, nie miałem o tym najłżejszego pojęcia. A, moja rodzina jest bajeczna — rzekł, na wpół obracając się do mnie i przejmując bezwiednie akcenty Blocha, jak przejmował jego myśli — zna ludzi niesłychanych, ludzi nazywających się co najmniej de Saint-Ferréol (wybijal ostatnią spółgłoskę każdego słowa), chodzi na bale, jeździ na spacer powozami, prowadzi fantastyczną egzystencję. Bajkowe.

Pani de Guermantes wydobyła z gardła ów lekki i silny dźwięk, niby wymuszony uśmiech, który się połyka, a który miał na celu okazanie, że w stopniu, w jakim pokrewieństwo ją do tego zmusza, bierze udział w dowcipie swego siostrzeńca.

W tej chwili lokaj oznajmił, że książę von Faffenheim-Münsterburg-Weinigen każe powiedzieć panu de Norpois, że przyszedł.

— Niech go pan wprowadzi — rzekła pani de Villeparisis do eks-ambasadora, który ruszył naprzeciw niemieckiego premiera.

Ale margrabina przywołała ambasadora:

— Niech pan zaczeka; czy mam mu pokazać miniaturę cesarzowej Szarlotty<sup>419</sup>?

— A, sądzę, że będzie zachwycony! — rzekł z przejęciem ambasador, tak jakby zażdościł szczęśliwemu ministrowi łaski, która go czeka.

— Tak, wiem, że on jest bardzo „dobrze myślący” — rzekła pani de Marsantes — a to takie rzadkie u cudzoziemców. Ale ja mam informacje. To wcielony antysemityzm.

Nazwisko księcia von Faffenheim — w szczeroci, z jaką pierwsze sylaby były — jak się mówi w muzyce — atakowane, i w zająkłej repetycji, która je skandowała — zachowało rozmach, zmanierowaną naiwność, ciężkie finezje germańskie, rzucone niby zieleniące się gałęzie na ciemnobłękitną emalię zgłoski „Heim”, roztaczającą mistycyzm nadreńskiego witrażu, poza bladymi i subtelnie cyzelowanymi złoceniami niemieckiego XVIII wieku. Wśród różnych członów, które je składały, nazwisko to zawierało nazwę niemieckiego miasteczka kąpielowego, gdzie raz dzieckiem byłem z babką, u stóp góry szacownej przechadzki Goethego oraz winnic, z których piliśmy w Kurhofie szacowne wina o nazwach skomplikowanych i grzmiących jak epitety dawane przez Homera jego bohaterom. Toteż ledwie usłyszał nazwisko księcia, zanim sobie przypomniałem kąpielisko, wydało mi się ono zmniejszone, nasiąkłe ludzkością, mieszczące się swobodnie w małym zakątku mojej pamięci, do której przyłgnęło, poufale, przyziemne, malownicze, soczyste, lekkie, z dodatkiem czegoś jakby autoryzowanego, przepisowego. Co więcej, pan de Guermantes, tłumacząc, kim jest książę, wymienił kilka jego tytułów; wówczas poznałem wioskę przeciętą rzeką, gdzie co wieczór po skończonej kuracji puszczałem się łódką przez chmarę komarów; i nazwę lasu, na tyle odległego, aby mi lekarz zabronił tam chodzić na spacer. I w istocie zrozumiałe było, że zwierchnictwo

<sup>419</sup> Elżbieta Charlotta z Palatynatu (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

udzielnego pana rozciągało się na otaczające miejscowości i w wyliczaniu jego tytułów skupiło na nowo nazwy, które można było wyczytać jedne tuż koło drugich na mapie. Tak więc pod przyłbicą księcia Świętego Imperium<sup>420</sup> i giermka Frankonii ujrzałem twarz ukochanej ziemi, gdzie często zatrzymywały się dla mnie promienie wieczornego słońca, któremu znów ujrzałem w tej chwili, przynajmniej zanim księżę, ryngrabia i elektor Palatynatu wszedł do salonu. Bo dowiedziałem się w ciągu kilku chwil, że dochody jakie czerpie z lasu i z rzeki zaludnionej gnomami<sup>421</sup> i ondynamami<sup>422</sup>, z zaczarowanej góry, gdzie wznosi się stary gród pamiętający Lutra<sup>423</sup> i Ludwika Niemieckiego<sup>424</sup>, księżę obraca na to, aby mieć pięć samochodów marki Charron, jeden pałac w Paryżu, a drugi w Londynie, abonowaną lożę (poniedziałki) w Operze, a drugą (wtorki) w Komedii Francuskiej. Nie wydawało mi się (i on sam nie zdawał się w to wierzyć), aby on się różnił od ludzi tego samego majątku i wieku o mniej poetycznym rodowodzie. Posiadał ich kulturę, ich ideały, cieszył się swoją pozycją, ale jedynie dla korzyści, jakie mu dawała, i miał w życiu już tylko jedną ambicję: zostać członkiem korespondentem Akademii Nauk Moralnych i Politycznych, z której to przyczyny zjawił się u pani de Villeparisis.

Jeżeli księżę, którego żona wodziła rej w najbardziej zamkniętej koterii Berlina, prosił o zaszczyt przedstawienia go margrabinie, to nie dlatego, aby sam z siebie żywił tę ochotę. Trawiony od lat żądzą wejścia do Instytutu, nigdy, na swoje nieszczęście, nie zdołał przekroczyć liczby pięciu akademików skłonnych nań głosować. Wiedział, że pan de Norpois rozporządza sam jeden co najmniej dziesiątkiem głosów, do których dyplomata ów miał możliwość, dzięki zręcznym transakcjom, przydać inne. Toteż księżę, znajomy jego z Rosji, kiedy byli tam obaj ambasadorami, wybrał się do pana de Norpois z wizytą i robił co mógł, aby go sobie zjednać. Ale daremnie mnożył uprzejmości, daremnie zdobywał margrabiemu rosyjskie ordery, cytował go w artykułach o polityce zagranicznej — miał do czynienia z niewdzięcznikiem, człowiekiem, któremu wszystkie uprzejmości zdawały się niczym, który nie posunął jego kandydatury ani o krok, nie przyrzekł mu nawet swojego głosu! Niewątpliwie, pan de Norpois przyjmował księcia niezmiernie uprzejmie, nie chciał nawet, aby się trudził i „drapał się po schodach”; udawał się sam do pałacu księcia, kiedy zaś rycerz teutoński<sup>425</sup> wybąkał: „Chciałbym bardzo być pańskim kolegą”, odpowiadał z przekonaniem: „Och, byłbym szczęśliwy!”. I z pewnością człowiek naiwny, jakiś Cottard, powiedziałby sobie: „No tak, przyszedł do mnie, zależało mu na tym, aby przyjść, bo uważa mnie za figurę wyższą od siebie, mówi mi, że byłby szczęśliwy, gdybym się znalazł w Akademii, słowa mają przecież jakieś znaczenie, cóż u licha, z pewnością jeżeli mi nie proponuje, że będzie głosował na mnie, to dlatego, że mu to nie przyszło na myśl. Za wiele mówi o mojej wielkiej władzy, musi myśleć, że mnie pieczone gołąbki same wpadają do ust, że mam tyle głosów, ile zapragnę, i dlatego nie proponuje mi swojego; ale wystarczy mi przycisnąć go do muru, o tak, w cztery oczy, i powiedzieć mu: »No więc, niech pan głosuje za mną«, a będzie musiał to zrobić”.

Ale księżę von Faffenheim nie był naiwny; był — jakby powiedział doktor Cottard — „szczwanym dyplomata” i wiedział, że pan de Norpois jest nie mniej szczwany, ani też nie jest człowiekiem niezdolnym zgadnąć w lot, że mógłby sprawić przyjemność kandydатовi, głosując za nim. W czasie swoich ambasad i jako minister spraw zagranicznych, księżę miewał na rzecz swojego kraju, jak obecnie dla samego siebie, owe rozmowy, w których człowiek wie z góry, jak daleko chce zajść i czego nie chce powiedzieć. Wiedział, że w je-

Polityka, Słowo

<sup>420</sup>Święte Imperium — Święte Cesarstwo Rzymskie, utworzone w średniowieczu, nawiązujące do uniwersalistycznych tradycji cesarstwa rzymskiego, obejmujące Europę zachodnią, środkową i południową; od koronacji Ottona I na cesarza w 962 do XII w. było najpotężniejszą monarchią w Europie; rozwiązane w 1806 podczas wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>421</sup>gnom — baśniowy, karłowaty opiekun kopalni i skarbów. [przypis edytorski]

<sup>422</sup>Ondyna (niem. *Undine*) — wodna rusałka, tytułowa bohaterka romantycznej baśni Friedricha Fouque (1777–1843) z 1811, która posłużyła za libretto oper E.T.A. Hoffmana i A. Lortziga oraz zainspirowała H. Ch. Andersena do napisania *Matej syrenki*. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>Luter, Marcin (1483–1546) — niemiecki reformator religijny, współtwórca luteranizmu, jednego z nurtów protestantyzmu, doktor teologii. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>Ludwik II Niemiecki (806–876) — wnuk Karola Wielkiego, pierwszy król państwa wschodniofrankijskiego (od 843), poprzednika Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, z którego w ciągu wieków wykształciło się państwo niemieckie. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>teutoński — germański, niemiecki; od starożytnego germańskiego ludu Teutonów, którzy razem z Cymbami pod koniec II w. p.n.e. zaatakowali państwo rzymskie. [przypis edytorski]

zyku dyplomatycznym rozmawiać znaczy ofiarowywać. I dlatego postarał się dla pana de Norpois o wielką wstęgę świętego Andrzeja. Ale gdyby musiał zdać sprawę swemu rządowi z rozmowy, jaką miał potem z panem de Norpois, mógłby sformułować to w depeszy: „Zrozumiałem, że obrał fałszywą drogę”. Bo z chwilą gdy książę znów zaczął mówić o Instytucie, pan de Norpois odpowiedział:

— Bardzo bym się z tego cieszył, bardzo, dla moich kolegów. Muszą, jak sądzę, czuć się naprawdę zaszczytzeni tym, że książę o nich pomyślał. To jest kandydatura bardzo interesująca, trochę niezwykła dla naszych przyzwyczajęń. Książę wie, Akademia jest wielka rutynistka, przeraża ją wszystko, co wydaje dźwięk trochę nowy. Osobiście nie chwalebę jej tego. Ileż razy zdarzyło mi się dać to do zrozumienia moim kolegom. Nie wiem nawet, niech mi Bóg odpuści, czy słowo „mamuty” nie wyszło raz z moich ust — dodał ze zgorzonym uśmiechem, półgłosem, prawie „na stronie”, rzucając na księcia szybkie i skośne spojrzenie swego niebieskiego oka, niby stary aktor sprawdzający wrażenie. — Rozumie książę, że nie chciałbym osobistości tak wybitnej jak pańska narażać na partię z góry przegraną. Dopóki pojęcia moich kolegów będą równie zacofane, sądzę, że roztropność każe się powstrzymać. Niech książę będzie zresztą przeświadczony, że gdybym widział kiedyś, że duch nieco świeższy, nieco żywszy rysuje się w tym kolegium, które staje się po trosze cementarzyskiem, gdybym dostrzegł jakąś możliwą szansę, pierwszy uprzedziłbym księcia o tym.

„Wielka wstęga świętego Andrzeja była omyłką — pomyślał książę; rokowania nie posunęły się ani o jotę; nie tego chciał. — Nie znalazłem właściwego klucza”.

Był to rodzaj wniosku, do jakiego pan de Norpois, wychowany w tej samej szkole, byłby równie zdolny. Można sobie drwić z pedantycznego ramolizmu, z jakim dyplomaci w stylu pana de Norpois rozpluwają się nad oficjalnym słówkiem, prawie nieznaczącym. Ale ich dzieciństwo ma swoją korekturę<sup>426</sup>: dyplomaci wiedzą, że na wadze, która zapewnia równowagę europejską lub inną, nazywaną pokojem, dobre uczucia, piękne słowa, błagania ważą bardzo mało; że ważki i prawdziwy ciężar, decyzje zależą od czego innego: od możliwości, jaką posiada przeciwnik (o ile jest dość silny) zaspokojenia, w drodze wymiany, jakiejś chęci. Z tym systemem prawd, którego osoba całkowicie bezinteresowna, jak moja babka na przykład, nie byłaby zdolna pojąć, pan de Norpois i niemiecki książę zmagali się często. Jako ambasador w krajach, z którymi bywaliśmy o włos od wojny, pan de Norpois, niespokojny o obrót wypadków, wiedział bardzo dobrze, że nie pod słowem „Pokój” lub pod słowem „Wojna”, będą mu one zakomunikowane; ale pod innym, banalnym na pozór, straszliwym lub błogosławionym, które dyplomata przy pomocy swego szyfru zdoła natychmiast odczytać. Aby ocalić godność Francji, odpowiedziałby na nie innym, równie banalnym słowem, w którym minister wrogiego narodu wyczytałby natychmiast: „Wojna”. I nawet, wedle dawnego zwyczaju, pokrewnego temu, który pierwszemu zbliżeniu dwojga przeznaczonych dla siebie istot dawał formę przypadkowego spotkania w teatrze „Gymnase”, dialog, w którym los poddyktowałby słowo „Wojna” lub słowo „Pokój”, nie odbywał się zazwyczaj w gabinecie ministra, ale na ławce jakiegoś *Kurgartenu*<sup>427</sup>, gdzie minister i pan de Norpois chodzili obaj do źródeł mineralnych wychylać kubki zdrowiodajnej wody. Jak gdyby mocą cichego układu, spotykali się w godzinie kuracji, robili najpierw mały spacer, o którym, pod jego niewinnym pozorem, obaj partnerzy wiedzieli, że jest równie tragiczny jak nakaz mobilizacji. Otóż w sprawie prywatnej, jak ta kandydatura do Instytutu, książę posługiwał się tym samym systemem indukcji, jaki praktykował w ciągu swojej kariery, i tą samą metodą czytania poprzez warstwę symbolów.

I z pewnością nie można twierdzić, aby wyłącznie moja babka i podobne jej natury nie znały rachub tego rodzaju. To pewne, iż ogół ludzi uprawiających określone zawody swoim brakiem intuicji dorównuje ignorancji, jaką babce dawała jej absolutna bezinteresowność. Często trzeba zstąpić aż do osób będących na utrzymaniu — mężczyzn lub kobiet — aby pobudek czynów lub słów, na pozór najniewinniejszych, umieć szukać w interesie, w koniecznościach życia. Któryż mężczyzna nie wie, iż kiedy kobieta, której ma płacić, powiada: „Nie mówmy o pieniądzach”, że te słowa trzeba liczyć, aby się

Polityka, Interes, Naród,  
Lud, Państwo

<sup>426</sup>korektura — poprawki usterek w uchwalonym prawie; ogólnie: usuwanie usterek, korekta. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>*Kurgarten* (niem.) — ogród zdrojowy. [przypis edytorski]

posłużyć terminem muzycznym, za „pusty takt”; a jeżeli później oświadcza mu: „Robiłeś mi za wiele przykrości, często ukrywałeś mi prawdę, przebrałeś miarę”, powinien to odczytać: „Inny protektor ofiarowuje jej więcej”. A i to jest tylko język kokoty dość zbliżonej do kobiet z towarzystwa. Apasze<sup>428</sup> dostarczają jaskrawszych przykładów. O ile pan de Norpois i niemiecki książę nie znali świata apaszów, przywykli w zamian wcielać się w psychikę narodów, które mimo swej wielkości są także istotami pełnymi egoizmu i podstępny, istotami, które poskramia się jedynie siłą, względami interesu zdolnego je popchnąć do morderstwa, morderstwa też często symbolicznego, gdyż proste zawahanie się przed walką lub odmowa walki może oznaczać dla narodu śmierć. Że jednak wszystko to nie jest powiedziane w *Żółtych*<sup>429</sup> (i innych tym podobnych) księgach, lud jest chętnie pacyfistą; jeżeli jest wojowniczy, to instynktownie, przez nienawiść, przez urazę, a nie z racji, które zdecydowały naczelników państwa, ostrzeżonych przez panów de Norpois.

Następnej zimy książę bardzo chorował; wyzdrowiał, ale serce jego zachowało ślad nieuleczalnego draśnięcia.

„Tam do licha! — powiedział sobie — nie trzeba tracić czasu, bo jeżeli będę zanadto odwlekał, grozi mi, że umrę, zanim wejść do Instytutu, a to byłoby doprawdy zbyt głupie”.

Napisał w przedmiocie polityki ostatnich dwudziestu lat studium do „Revue des Deux Mondes”<sup>430</sup>, gdzie wyraził się kilkakrotnie najpochlebniej o panu de Norpois. Ten wybrał się z wizytą do księcia i podziękował mu. Dodał, iż nie wie, jak mu ma okazać swoją wdzięczność. Książę powiedział sobie, jak ktoś, kto spróbował do zamku nowego klucza: „To jeszcze nie ten”. Zadyszawszy się nieco, odprowadzając pana de Norpois, pomyślał: „Ej, do licha, te zuchy pozwolą mi kipnąć, zanim mnie powołają. Trzeba przyspieszyć”.

Tego samego wieczora książę spotkał pana de Norpois w operze.

— Drogi ambasadorze — rzekł — powiedział mi pan dziś rano, że pan nie wie, jak mi okazać swoją wdzięczność; to wielka przesada, nie jest mi pan winien żadnej, ale będę na tyle niedelikatny, aby go wziąć za słowo.

Pan de Norpois nie mniej cenił takt księcia niż książę jego własny. Zrozumiał natychmiast, że książę von Faffenheim wystąpi nie z prośbą, lecz z ofertą, i z przychylnym uśmiechem gotował się go wysłuchać.

— Powiem więc, o co chodzi, mimo że się może panu wydam wielce natrętny. Są dwie osoby, do których jestem bardzo przywiązany (na bardzo różny sposób, jak pan to zaraz zrozumie), a które od niedawna osiadły na stałe w Paryżu. Te osoby to moja żona i wielka księżna Janowa. Mają wydać parę obiadów, w szczególności na cześć królestwa angielskich, i marzeniem ich byłoby móc uraczyć swoich dostojnych gości towarzystwem kobiety, dla której, nie znając jej, obie żywią wielką admirację. Wyznaję, że nie wiedziałem, co począć, aby zadowolić ich pragnienie, kiedy — najzupełniejszym przypadkiem — dowiedziałem się przed chwilą, że pan zna tę osobę; wiem, że żyje bardzo ustronnie, widuje bardzo mało kogo, *happy few*<sup>431</sup>; ale gdyby pan zechciał mnie poprzeć z życzliwością, jaką mi pan okazuje, jestem pewien, że dama ta zgodziłaby się, aby mnie pan jej przedstawił i abym jej oznajmił pragnienie wielkiej księżnej i księżnej mojej żony. Może zgodziłaby się przyjść do nas spożyć obiad z królową angielską, a może, o ile byśmy jej nie znudzili zbyt, spędziłaby z nami święta wielkanocne w Beaulieu u wielkiej księżnej Janowej. Ta osoba zwie się margrabina de Villeparisis. Wyznaję, że nadzieja zostania jednym ze stałych gości tego *bureau d'esprit* pozwoliłaby mi bez przykrości wyrzec się kandydatury do Akademii. To jest także Akademia inteligencji i wytwornej rozmowy.

Z uczuciem niewysłowionej rozkoszy książę uczuł, że zamek się nie opiera i że narzecie klucz wchodzi.

— Zbyteczna alternatywa, drogi książę — odparł pan de Norpois — nic lepiej się nie godzi z Instytutem niż salon, o którym pan mówi i który jest prawdziwą wylęgarnią akademików. Przekażę pańskie życzenie margrabinie de Villeparisis, z pewnością pochlebi jej bardzo. Co się tyczy obiadu u państwa, to będzie może trudniej, margrabina rusza się

<sup>428</sup> *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

<sup>429</sup> *Żółta Księga* — ang. „The Yellow Book”, brytyjski kwartalnik literacki, wyd. w latach 1894–1897. [przypis edytorski]

<sup>430</sup> „*Revue des Deux Mondes*” (fr.: Przegląd dwóch światów) — francuskie czasopismo literacko-kulturalne ukazujące się od 1829; na jego łamach publikowało wielu wybitnych pisarzy. [przypis edytorski]

<sup>431</sup> *happy few* (ang.) — szczęśliwych kilku. [przypis edytorski]

z domu bardzo rzadko. Ale przedstawię jej księcia i będzie księżę mógł sam bronić swojej sprawy. Nie trzeba zwłaszcza wyrzekać się Akademii; właśnie od jutra za dwa tygodnie jem śniadanie (po czym udajemy się na ważne posiedzenie) u pana Leroy-Beaulieu<sup>432</sup>, bez którego niepodobna myśleć o żadnym wyborze; już wspominałem mu pańskie nazwisko, które zna oczywiście doskonale. Sformułował pewne zarzuty. Ale tak się składa, że on potrzebuje poparcia mojej grupy przy najbliższym wyborze, toteż mam zamiar ponowić atak; wyznam mu bardzo szczerze na wskroś serdeczne związki, jakie nas łączą; nie zataję, że gdyby pan postawił swoją kandydaturę, poprosiłbym wszystkich swoich przyjaciół, aby głosowali za panem (książę odetchnął z głęboką ulgą) a on wie, że ja mam przyjaciół. Sądzę, że gdybym zdołał sobie zapewnić jego poparcie, widoki pańskie stałyby się bardzo poważne. Niech pan przyjdzie tego wieczora o szóstej do pani de Villeparisis, wprowadzę pana i będę mógł panu zdać sprawę z mojej rannej rozmowy.

W ten sposób księżę von Faffenheim dopłynął do salonu pani de Villeparisis. Kiedy zaczął mówić, sprawił mi głębokie rozczarowanie. Nie pomyślałem o tym, że o ile dana epoka posiada rysy swoiste i ogólne, silniejsze od narodowości, tak że w ilustrowanej encyklopedii, gdzie nam pokazują zgoła autentyczny portret Minerwy, Leibniz<sup>433</sup> ze swoją peruką i krezą mało się różni od Marivaux<sup>434</sup> lub od Samuela Bernard<sup>435</sup>, o tyle znowuż narodowość ma swoiste rysy, silniejsze od kasty. Otóż wyraziły się one w mojej obecności nie słowami, w których spodziewałem się zawczasu usłyszeć szmer elfów i taniec koboldów<sup>436</sup>, ale ich transpozycją, nie mniej świadczącą o tym poetycznym pochodzeniu; faktem, iż składając ukłon pani de Villeparisis, mały, czerwony i brzuchaty ryngrabia powiedział: „Zień topry, bani margiso”, z akcentem odźwiernego Alzatzczyka.

— Czy pozwoli pan podać sobie filiżankę herbaty albo kawalek torciku, wyborny jest — rzekła do mnie pani de Guermantes, rozwijając dla mnie maksimum uprzejmości. — Robię honory w tym domu jakby we własnym — dodała z odcieniem ironii, która dawała coś gardłowego jej głosowi, tak jakby stłumiła chrapliwy śmiech.

— Panie ambasadorze — rzekła pani de Villeparisis do pana de Norpois — będzie pan pamiętał za chwilę, że pan miał coś do powiedzenia księciu w sprawie Akademii?

Pani de Guermantes spuściła oczy i obróciła dłoń, aby spojrzeć na zegarek.

— Och, Boże, ostatni czas pożegnać się z ciotką, jeżeli mam jeszcze wpaść do pani de Saint-Ferréol, a mam obiad u pani Leroi.

Wstała, nie żegnając się ze mną. Spozrzęła panią Swann, która zdawała się dosyć zakłopotana moim widokiem. Przypominała sobie z pewnością, że wcześniej niż ktokolwiek mówiła mi, że jest przekonana o niewinności Dreyfusa.

— Nie chcę, żeby mnie ciotka przedstawiała pani Swann — rzekł do mnie Saint-Loup. — To eks-kokota. Jej mąż to Żyd, a ona nam odważa nacjonalizm. O, przyszedł wuj Palamed.

Obecność pani Swann miała dla mnie specjalne znaczenie dzięki faktowi, który się zdarzył kilka dni wprzód, a który trzeba przytoczyć dla następstw, jakie miał mieć o wiele później; opowiemy je szczegółowo, kiedy przyjdzie właściwy moment. Zatem kilka dni przed tą wizytą spotkała mnie inna znów wizyta, doprawdy nieoczekiwana: wizyta Karola Morel, nieznanego mi syna dawnego kamerdynera w domu wuja Adolfa. Ten mój wujeczny dziadek (ten sam, u którego spotkałem „różową damę”) umarł poprzedniego roku. Jego kamerdyner objawiał kilka razy zamiar odwiedzenia mnie; nie znałem celu jego wizyty, ale byłbym go ujrzał chętnie, bo dowiedziałem się przez Franciszkę, że zachował prawdziwy kult dla pamięci wuja i odbywał przy każdej sposobności pielgrzymki na cmentarz. Ale zmuszony udać się dla zdrowia w swoje strony i spodziewając się pozostać tam dłużej, wyprawił do mnie syna. Zdziwiłem się, widząc wchodzącego pięknego osiemnastoletniego młodzieńca, ubranego raczej bogato niż ze smakiem, ale wyglądają-

<sup>432</sup>Leroy-Beaulieu, Anatole (1842–1912) — francuski publicysta i historyk; członek Akademii Nauk Moralnych i Politycznych Instytutu Francuskiego (od 1887). [przypis edytorski]

<sup>433</sup>Leibniz, Gottfried Wilhelm (1646–1716) — niemiecki matematyk, fizyk i filozof epoki oświecenia, jeden z najwybitniejszych i najbardziej wszechstronnych uczonych XVII w.; autor metafizycznej teorii monad: podstawowych, nieoddziałujących na siebie składników świata. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>Marivaux, Pierre (1688–1763) — wybitny francuski komediopisarz, także powieściopisarz. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>Bernard, Samuel (1651–1739) — francuski finansista, hrabia de Coubert od 1725. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>koboldów (mit. germ.) — karzeł strzegący skarbów podziemnych. [przypis edytorski]



cego prędzej na wszystko niż na lokaja. Przecież zresztą od razu związek z lokajstwem, z którego pochodził, powiadamiając mnie z uśmiechem zadowolenia, że jest laureatem konserwatorium. Cel wizyty był ten: z pamiętek po wuju Adolfie ojciec jego odłożył niektóre, uważając za niewłaściwe przesyłać je moim rodzicom; ale pomyślał, że mogłyby interesować młodego człowieka w moim wieku. Były to fotografie sławnych aktorek, wielkich kokot, znajomych wuja, ostatnie obrazy życia starego hulaki, które oddzielał od swego życia rodzinnego hermetyczną ścianką. Podczas gdy młody Morel pokazywał mi te pamiątki, zdałem sobie sprawę, że on sili się mówić ze mną jak z równym. Znajdował w mówieniu „vous”, a jak najrzadziej „monsieur” przyjemność człowieka, którego ojciec, zwracając się do moich rodziców, czynił to jedynie w trzeciej osobie.

Prawie wszystkie fotografie nosiły podpisy: „Memu najlepszemu przyjacielowi”. Któraś aktorka, bardziej niewdzięczna a sprytniejsza, napisała: „Najlepszemu z przyjaciół”, co jej pozwalało, jak mnie zapewniano, opowiadać, iż mój wuj nie był bynajmniej (nawet w przybliżeniu) jej najlepszym przyjacielem, ale przyjacielem, który oddał jej najwięcej drobnych usług, przyjacielem, którym się posługiwała, najpoczciwszym człowiekiem, niemal starym osłem.

Młody Morel daremnie starał się wyzwolić ze swoich początków; czuć było, że cień wuja Adolfa, czcigodny i nieproporcjonalnie wielki w oczach starego kamerdynera, nie przestał padać, niemal święty, na dzieciństwo i młodość syna. Podczas gdy ja przeglądałem fotografie, Morel badał mój pokój. I kiedy szukałem miejsca, gdzie bym je mógł schować, on rzekł (tonem, który nie potrzebował wyrażać nagany, tak dalece mieściła się ona w samych słowach):

— Ale czym się dzieje<sup>437</sup>, że nie widzę ani jednej fotografii wuja w pańskim pokoju?

Uczulem, że się czerwienię, i wyjąkałem:

— Zdaje się, że nie mam żadnej.

— Jak to, pan nie ma ani jednej fotografii wuja Adolfa, który pana tak kochał? Prześlę panu którąś jutro; wezmę z mnóstwa fotografii, które ma mój stary, i mam nadzieję, że ją pan zainstaluje na honorowym miejscu; o, nad tą komodą, którą pan ma właśnie po wuju.

Co prawda, skoro nie miałem w pokoju nawet fotografii ojca ani matki, nie było nic rażącego w tym, że nie było i fotografii wuja Adolfa. Ale nietrudno było zgadnąć, że dla Morela, który wszczepił ten pogląd swemu synowi, wuj był ową najważniejszą osobą w rodzinie, osobą, z której moi rodzice czerpali jedynie odbłask. Byłem dla niego czymś, bo wuj powtarzał co dnia, że będzie ze mnie nowy Racine, Vaulabelle<sup>438</sup>, a Morel uważał mnie niemal za przybranego syna, za ukochane dziecko wuja.

Zdałem sobie rychło sprawę, że syn Morela był wielkim „arywistą”<sup>439</sup>. I tak owego dnia spytał mnie, będąc także po trochu kompozytorem, zdolnym dorobić muzykę do jakiejś poezji — czy nie znam jakiegoś poety, mającego poważną sytuację w wielkim świecie. Wymieniłem takiego. Nie znał dzieł tego poety i nigdy nie słyszał jego nazwiska; zanotował je sobie. Otóż dowiedziałem się, że niedługo potem napisał do owego poety z oświadczeniem, że jako fanatyczny wielbiciel jego talentu ułożył muzykę do jego sonetu i byłby szczęśliwy, gdyby autor tekstu postarał się o wykonanie utworu u hrabiny \*\*\*. To było zbyt obcesowe, zbyt jasno zdradził swój plan. Poeta, zmrożony, nie odpowiedział.

Zresztą, niezależnie od ambicji, młody Morel zdawał się żywić skłonność do konkretniejszych realności. Zauważył w dziedzińcu siostrzenicę Jupiena szyjącą kamizelkę; mimo że mi tylko powiedział, że mu właśnie potrzeba kolorowej kamizelki, uczulem, iż młoda dziewczyna zrobiła na nim silne wrażenie. Bez chwili wahania poprosił mnie, żebym z nim zeszedł i przedstawił go, „ale nie w związku z pańską rodziną, rozumie pan, liczę na pańską dyskrecję co do mego ojca; niech pan powie tylko: »wielki artysta, mój przyjaciel«; rozumie pan, że w stosunkach z rękodzielnikami trzeba dbać o wrażenie”. Natrącił, iż nie będąc z nim na tyle blisko, aby go nazywać (on to rozumie) „drogim przyjacielem”, mógłbym do niego mówić — w obecności siostrzenicy Jupiena — nie »drogi mistrzu«

<sup>437</sup> *czym się dzieje* (daw.) — jak to się dzieje; w jaki sposób (przez co, z jakiego powodu) się dzieje. [przypis edytorski]

<sup>438</sup> *Vaulabelle, Achille Tenaille de* (1799–1879) — francuski publicysta i polityk. [przypis edytorski]

<sup>439</sup> *arywistą* (z fr.) — człowiek bez skrupułów dążący do zdobycia pozycji, pieniędzy lub władzy; karierowicz. [przypis edytorski]

oczywiście... chociaż... „gdyby to panu odpowiadało: »drogi wielki artysto«”. Mimo to unikałem w sklepie „specyfikowania go”, jak by powiedział Saint-Simon, i poprzestałem na zobopólnym „pan”.

Morel wybrał z kilku sztuk aksamitu kolor czerwony, tak żywy i krzyczący, że mimo całego swego złego gustu nie mógł nigdy włożyć tej kamizelki. Młoda dziewczyna wróciła do pracy ze swymi dwiema „pannami”, ale zdawało mi się, że wrażenie było wzajemne i że młody Morel, który wydał się jej kimś „z jej świata” (tyle tylko, że był wykwi-tniejszy i bogatszy), szczególnie się jej spodobał. Bardzo się zdziwiłem, znajdując między fotografiami, które mi przesłał jego ojciec, fotografię portretu miss Sacripant (to znaczy Odety) roboty Elstira; odprowadzając Morela aż do bramy, rzekłem:

— Bardzo obawiam się, że pan nie potrafi mnie objaśnić. Czy wuj blisko znał tę damę? Nie bardzo widzę, w jakiej epoce jego życia mógłbym ją pomieścić; a interesuje mnie to z powodu pana Swann...

— Właśnie zapomniałem panu powiedzieć, że ojciec polecił mi zwrócić pańską uwagę na tę damę. W istocie, ta heroina półświatka była u wuja na śniadaniu ostatnim razem, kiedy go pan widział. Ojciec nie bardzo wiedział, czy pana może wpuścić. Zdaje się, że pan się bardzo spodobał tej puszczałskiej i że spodziewała się pana spotkać jeszcze kiedyś. Ale właśnie w tej chwili (wedle tego, co mówił ojciec) przyszło do kwasów w rodzinie i już pan nigdy nie widział wuja.

Morel uśmiechnął się w tej chwili, żegnając z daleka siostrzenicę Jupiena. Patrzyła na niego, podziwiając z pewnością jego ściągłą twarz o regularnych rysach, jego puszyste włosy, wesołe oczy. Ja, podając mu rękę, myślałem o pani Swann i powiadałem sobie ze zdziwieniem — tak bardzo te dwie istoty były odległe od siebie i różne w moim wspomnieniu — że odtąd będę ją musiał utożsamiać z „różową damą”.

Pan de Charlus usiadł niebawem koło pani Swann. Wszędzie gdzie się znajdował, zawsze wgardliwy wobec mężczyzn, otoczony przez kobiety, przylepiał się do najbardziej eleganckiej, w której toaletę czuł się jak gdyby strojny. Tużurek czy frak dawały baronowi podobieństwo do owych portretów, gdzie wielki kolorysta namalował mężczyznę w czerni, ale rzucił koło niego na krzesło jaskrawy płaszcz, który mężczyzna ów przybierze na jakiś bal kostiumowy. Takie odseparowanie się, zazwyczaj z jakąś „wysokością”, stwarzało panu de Charlus ramę i przywilej zarazem. Miało ono na przykład ten skutek, że gospodyni domu jedynemu baronowi pozwalała na jakiejś fecie zająć krzesło na przedzie w szeregu dam, gdy inni mężczyźni tłoczyli się w głębi. Co więcej, baron, opowiadający z przejęciem i bardzo głośno zabawne historyjki zachwyconej damie, zwolniony był od witania się z innymi, tym samym od dopełnienia obowiązków grzeczności. Poza pachnącą barierą, jaką stawała mu się wybrana piękność, siedział na środku salonu niby na widowni teatru w łoży, i kiedy podchodzono, aby go witać poprzez — można rzec — piękność jego sąsiadki, można było baronowi wybaczyć, że odpowiada na ukłon bardzo krótko, nie przerywając rozmowy z damą. Niewątpliwie pani Swann nie bardzo była z rzędu kobiet, z którymi pan de Charlus lubił się afiszować w ten sposób. Ale manifestował swój podziw dla niej, a przyjaźń dla Swanna, wiedząc, że jej pochlebiam jego względy, jemu zaś samemu pochlebiali to, że się kompromituje z najładniejszą z obecnych w tym salonie kobiet.

Pani de Villeparisis nie była zresztą zachwycona wizytą pana de Charlus. Ów, mimo iż widząc w ciotce wielkie wady, kochał ją bardzo. Ale chwilami, pod wpływem gniewu lub urojonych pretensji, niezdolny się pohamować, pisał do niej listy straszliwie gwałtowne, wyolbrzymiając drobiazgi, których dotąd zdawał się nie spostrzegać. Między innymi mogę zacytować ten fakt, o którym dowiedziałem się w związku ze swoim pobytem w Balbec. Pani de Villeparisis, bojąc się, że nie wystarczy jej pieniędzy do końca wilegiatury, a nie mając ochoty, przez skąpstwo i przez niechęć do zbytecznych kosztów, pisać o pieniądzu do Paryża, pożyczyła od pana de Charlus trzy tysiące franków. W miesiąc później baron, urażony na ciotkę o jakąś blahostkę, zażądał owych pieniędzy telegraficznie. Otrzymał dwa tysiące dziewięćset dziewięćdziesiąt i kilka franków. Widząc ciotkę w kilka dni potem w Paryżu i rozmawiając z nią przyjaźnie, zauważył bardzo spokojnie błąd popełniony przez bank przy wysyłce pieniędzy.

— Ależ to nie błąd — odparła pani de Villeparisis — przesyłka telegraficzna kosztowała sześć franków siedemdziesiąt pięć centymów<sup>440</sup>.

— A, skoro to jest umyślne, wszystko w porządku — odparł pan de Charlus. — Wspominałem ci o tym jedynie na wypadek, gdybyś nie wiedziała, bo w takim razie, gdyby bank postąpił tak samo wobec kogoś będącego z tobą w mniej zażyłych stosunkach, mogłoby ci to być niemiłe.

— Nie, nie, nie ma żadnej omyłki.

— W gruncie, miałaś zupełną słuszność — zakonkludował wesoło pan de Charlus, czule całując ciotkę w rękę. W istocie nie miał do niej pretensji, uśmiechnął się jedynie z tej małostkowości. Ale w jakiś czas potem uwierzył, że w pewnej rodzinnej sprawie ciotka chce go „nabrać” i że uknuła przeciw niemu cały spisek. Kiedy ona, dość niemądrze, chowała się za adwokatów (gdy baron podejrzewał ją właśnie o konszachty z tymi ludźmi przeciw niemu), napisał do niej list buchający wściekłością i impertynencją. „Nie poprzestanę na tym, aby się zemścić (dodał w *postscriptum*<sup>441</sup>); ośmieszę cię. Od jutra zacznę opowiadać wszystkim historię przekazu telegraficznego i sześciu franków siedemdziesięciu pięciu centymów, które mi odciągnęłaś od pożyczonych trzech tysięcy. Okryję cię hańbą”.

Zamiast tego poszedł na drugi dzień przeprosić ciotkę, żalując listu, gdzie znajdowały się zwroty naprawdę ohydne. Zresztą, komu miał opowiedzieć historię przekazu? Nie pragnąc zemsty, lecz szczerego pojednania, teraz właśnie chciałby zataić tę historię. Ale przedtem, będąc bardzo dobrze z ciotką, opowiedział ją wszędzie; opowiadał bez złośliwości, dla zabawy i dlatego, że był wcieloną niedyskrecją. Opowiadał, ale bez wiedzy pani de Villeparisis. Tak iż, dowiedziawszy się z jego listu, że on zamierza ją skompromitować rozgłoszeniem rzeczy, którą sam uznał wprzód za właściwą i naturalną, sądziła, że ją oszukał wówczas i że kłamie, udając przywiązanie.

Wszystko to załagodziło się, ale żadne z nich dwojga nie znało ściśle stanu ducha drugiej strony. Niewątpliwie zachodził tu nieco specjalny typ nieporozumienia. Innego typu były scysje Blocha z jego przyjaciółmi. Innego jeszcze typu zwady pana de Charlus — jak się to okaże — z osobami całkiem innymi niż pani de Villeparisis. Mimo to trzeba pamiętać, że opinia, jaką mamy wzajem o sobie, stosunki przyjacielskie, rodzinne, stałe są jedynie na pozór, w istocie zaś są wiecznie ruchliwe jak morze. Stąd tak częste pogłoski o rozwodzie między małżonkami, którzy wydają się tak idealnie zgodni i którzy wkrótce potem mówią najczulej o sobie; stąd tyle bezceństw opowiadanych przez przyjaciela o najbliższym przyjacielu, z którym już zdąży się pogodzić, zanim my zdołamy ochłonąć z naszego zdumienia; stąd tyle zdeptanych przymierzy między narodami i to w tak krótkim czasie!

— Mój Boże, ależ tam ciepło między wujaszkiem a panią Swann! — rzekł do mnie Saint-Loup. — A mama, która w niewinności ducha przeszkadza im! Czystym wszystko jest czyste!

Patrzyłem na pana de Charlus. Jego szpakowaty czub, uśmiechnięte oko z brwią strząsającą się nad monoklem, czerwony kwiat w butonierce tworzyły niby trzy ruchome szczyty konwulsyjnie drgającego i uderzającego trójkąta. Nie odważyłem mu się uklonić, bo nie ośmielił mnie żadnym znakiem. Ale mimo że się baron nie zwrócił w moją stronę, byłem przekonany, że mnie widział; opowiadał jakąś historię pani Swann, której wspinały płaszcz koloru bratków spływał aż na kolana barona, przy czym biegające oczy pana de Charlus, podobne oczom domokrażcy, który drży przed zjawieniem się „gliny”, przepatrzyły z pewnością każdą okolicę salonu i zanotowały wszystkich obecnych. Kiedy pan de Châtellerault podszedł, aby się z nim przywitać, nic na twarzy pana de Charlus nie zdradziło, że widział młodego księcia, zanim ten znalazł się tuż przy nim. W ten sposób na takich liczniejszych zebraniach pan de Charlus zachowywał niemal bez przerwy uśmiech bez określonego kierunku i specjalnego przeznaczenia, uśmiech, który, obecny na jego wargach niejako przed ukłonem przybyłych, mógł być, w momencie gdy ci wchodzili w jego strefę, wyzuty z wszelkich cech indywidualnie umiejscowionej uprzejmości.

<sup>440</sup>centym — setna część franka. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>postscriptum (lac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

Ale trzeba mi się było przywitać z panią Swann. Nie wiedząc, czy ja znam panią de Marsantes i pana de Charlus, przyjęła mnie dość chłodno, bojąc się z pewnością, że ją poproszę, aby mnie przedstawiła. Podszedłem wówczas do pana de Charlus i natychmiast pożałowałem tego, gdyż widząc mnie z pewnością doskonale, nie zdradzał tego niczym. W chwili gdy się ukloniłem, ujrzałem — w pewnej odległości od jego ciała, do którego baron bronił mi dostępu całą długością wyciągniętego ramienia — palec, огоłony, można by rzec, z biskupiego pierścienia, palec podawany jak gdyby po to, aby się go ucałowało w poświęcone miejsce. Robiło to wrażenie, że wtargnąłem w strefę pana de Charlus bez jego wiedzy, „z włamaniem”, za które całą odpowiedzialność składał na mnie, wyrażając to bezimienną, bezosobistą i roztargnioną ciągłością swego uśmiechu. Ten jego chłód nie przyczynił się do podniesienia temperatury pani Swann.

— Jak ty wyglądasz, zmęczony, niespokojny — rzekła pani de Marsantes do syna, który podszedł, aby się przywitać z panem de Charlus.

I w istocie, oczy Roberta zdawały się chwilami dosięgać głębi, którą opuszczały natychmiast, niby nurek, gdy dotknie dna. Owym dnem, tak bolesnym dla Roberta, że skoro się go dotknął, opuszczał je natychmiast, aby doń wrócić w chwilę potem, była myśl, iż zerwał z kochanką.

— To nic — dodała matka, gładząc go po twarzy — to nic, miło jest widzieć swojego chłopca.

Ale ta czułość drażniła wyraźnie Roberta. Pani de Marsantes pociągnęła syna w głąb salonu, gdzie w obitej żółtym jedwabiem niszy parę foteli *beauvais* odcinało się swoimi fioletowymi haftami, niby purpurowe irysy w polu jaskrów. Pani Swann, znalazłszy się sama i zrozumiałwszy, że ja jestem blisko z Robertem de Saint-Loup, przyzwała mnie gestem. Nie widziałem jej od tak dawna, że nie wiedziałem, o czym mówić. Nie traciłem z oczu mojego kapelusza pośród wszystkich tych, które się znajdowały na podłodze, ale pytałem się ciekawie sam siebie, do kogo może należeć jeden z nich, niebędący kapeluszem księcia de Guermantes, a naznaczony literą „G” z koroną księżęcą. Wiedziałem, kim są wszyscy goście, i nie znajdowałem wśród nich odpowiednika dla tego kapelusza.

— Jaki ten pan de Norpois jest sympatyczny — rzekłem, wskazując na ambasadora.  
— Co prawda, Robert de Saint-Loup mówi mi, że to żmija...

— Ma rację — rzekła pani Swann.

Czytając w jej spojrzeniu jakąś myśl, którą przede mną tała, zacząłem naglić panią Swann pytaniami. Rada, iż wygląda na bardzo obleganą przez kogoś w tym salonie, gdzie nie znała prawie nikogo, pociągnęła mnie w kąt.

— Powiem panu, co niewątpliwie pan de Saint-Loup miał na myśli — odparła — ale niech mu pan tego nie powtarza, bo uważałby mnie za niedyskretną, a mnie bardzo zależy na jego szacunku; pan wie, ja jestem bardzo „porządny człowiek”. Niedawno Charlus był na obiedzie u księżnej Marii de Guermantes; nie wiem skąd, rozmowa zeszła na pana. Pan de Norpois powiedział podobno — to idiotyczne, ale niech pan sobie nie nabija tym głowy, nikt do tego nie przywiązywał wagi, wiadano zbyt dobrze z jakich ust to wychodzi — że pan jest pochlebcą dochodzącym granic hysterii.

Zaznaczyłem znacznie wcześniej moje zdumienie, że przyjaciel ojca, jakim był pan de Norpois, mógł się o mnie wyrażać w ten sposób. Jeszcze bardziej zdumiała mnie wiadomość, że moje wzruszenie z owego dawnego dnia, kiedy mówiłem o pani Swann i o Gilbertce, znane jest księżnej Marii, gdy ja nie przypuszczałem, że ona wie o moim istnieniu! Każdy nasz uczynek, każde słowo, każdy gest oddzielone są od „świata”, od ludzi, do których nie doszły bezpośrednio, strefą, której przepuszczalność zmienia się bez końca i pozostaje nam nieznaną. Wiedząc z doświadczenia, że jakieś ważne odezwanie się, którego rozpowszechnienia pragnęlibyśmy żywo (na przykład owe hymny na cześć pani Swann, które wyśpiewywałem wówczas wszystkim i przy każdej sposobności w nadziei, że na tyle rzuconych ziarn znajdzie się jedno, które wszędzie), zostało często właśnie wskutek owego naszego pragnienia natychmiast ukryte pod korcem, z tym większą racją dalecy byliśmy od przypuszczenia, że jakieś drobne słówko, zapomniane przez nas samych, nigdy może nawet przez nas niepowiedziane i powstałe w drodze wskutek niedokładnej refrak-

Portret, Plotka, Obyczaje

cji<sup>442</sup> innego słowa, będzie wędrowało bez przerwy, bez końca, na nieskończoną odległość — w danym wypadku aż do księżnej Gilbertowej — i ubawi naszym kosztem ucztę bogów. Szczegółów naszego zachowania się, które sobie przypominamy, nie zauważył nasz najbliższy sąsiad; w zamian słowa, o których zapomnieliśmy lub może nigdyśmy ich nie powiedzieli, będą śmieszyły zgoła mieszkańców innej planety! Obraz, jaki inni tworzą sobie o naszych uczynkach, równie mało podobny jest do obrazu, jaki my tworzymy sobie sami, jak mało podobna byłaby do rysunku jakaś nieudana odbitka, gdzie czarnej plamie odpowiadałaby pusta przestrzeń, a białej zagadkowy kontur. Może się zresztą zdarzyć, że to, co się nie utrzymało, to jest jakiś nierealny rys, który my widzimy jedynie mocą naszego samozłudzenia; to zaś, co się nam wydaje dodane, stanowi, przeciwnie, naszą cechę, ale tak istotną i własną, że uchodzi naszej uwagi. Tak, że ta szczególna odbitka, która się nam wydaje tak niepodobna, zawiera niekiedy ten sam rodzaj prawdy — niewątpliwie mało pochlebny, ale głęboki i pożyteczny — co rentgenowska fotografia. Nie jest to racją, abyśmy się w niej poznali. Wyobraźmy sobie kogoś, kto przywykł uśmiechać się w lustrze do swojej pięknej twarzy i pięknego torsu, i pokażmy mu jego zdjęcie; wobec tego kościstego różańca, mającego być obrazem jego samego, będzie miał to samo wrażenie omyłki, jaką ma zwiedzający wystawę, gdy, stojąc przed portretem młodej kobiety, wyczyta w katalogu: „Odpoczywający dromader”. Ten rozdźwięk między naszym obrazem, zależnie od tego, czy narysowany jest przez nas samych, czy przez kogoś drugiego, miałem sobie później uświadomić na innych osobach, żyjących błogo pośród fotografii, które zdjęli z samych siebie, podczas gdy dokoła szczerzą zęby okropne obrazy, zazwyczaj niewidoczne dla nich samych, ale pogrążające ich w zdumieniu, skoro je im pokaże przypadek, mówiąc: „To ty”.

Kilka lat wprzódby czułbym się szczęśliwy, opowiadając pani Swann, z jakiej przyczyny byłem tak czuły dla pana de Norpois, skoro tą przyczyną była żądza poznania jej. Ale nie odczuwałem już tej żądzy, nie kochałem już Gilberty. Z drugiej strony, nie mogłem utożsamić pani Swann z „różową damą” mego dzieciństwa. Toteż zacząłem jej mówić o kobiecie, która mnie zaprzętała w tej chwili.

— Czy widziała pani księżną de Guermantes? — spytałem pani Swann.

Ale ponieważ księżna nie kłaniała się pani Swann, Odeta chciała stworzyć pozór, że to ona uważa księżną za osobę nieinteresującą, której obecności nawet się nie spostrzega.

— Nie wiem, nie *zrealizowałam*<sup>443</sup> — odparła niechętnie, używając terminu przetłumaczonego z angielskiego.

Co do mnie, pragnąłem zdobyć informacje nie tylko o pani de Guermantes, ale o wszystkich osobach żyjących w jej pobliżu; zupełnie tedy jak Bloch, z nietaktem ludzi troszczących się w towarzystwie nie o to, aby sprawić przyjemność innym, ale o to, aby egoistycznie wyświetlić szczegóły, które zajmują ich samych, chcąc tym dokładniej odtworzyć sobie życie pani de Guermantes, zacząłem wypytywać panią de Villeparisis o panią Leroi.

— Tak, wiem — odparła z robioną wzgardą — to córka tego wielkiego handlarza drzewem. Wiem, że u niej teraz bywają, ale powiem panu, że jestem za stara, aby robić nowe znajomości. Znałam ludzi tak interesujących, tak miłych, że doprawdy nie sądzę, aby pani Leroi dała mi coś więcej.

Pani de Marsantes, która objęła rolę damy dworu przy margrabinie, przedstawiła mnie niemieckiemu księciu; nie dokończyła jeszcze, kiedy pan de Norpois przedstawił mnie również, w nader gorących słowach. Może było mu na rękę wyświadczyć mi grzeczność nienaruszającą w niczym jego kredytu (skoro właśnie ktoś inny już mnie przedstawił); może sądził, iż cudzoziemiec, nawet tak znamienity, mniej jest biegły we francuskich salonach i może myśleć, że mu przedstawiono młodzieńca z wielkiego świata; może rad był zrobić użytek ze swojej prerogatywy, kładąc niejako na akcie prezentacji ambasadorski podpis; lub może przez gust do archaizmu chciał wskrzesić na rzecz księcia Rzeszy pochlebny dlań obyczaj, żądający dla prezentacji pary chrzestnych rodziców.

<sup>442</sup>*refrakcja* — załamanie promieni świetlnych, odchylenie kierunku rozchodzenia się światła przy przejściu do innego ośrodka. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>*nie zrealizowałam* — tu: z ang. *I haven't realized*: nie zauważyłam, nie zdałam sobie sprawy. [przypis edytorski]

Pani de Villeparisis przywołała pana de Norpois, czując potrzebę powiedzenia mi jego ustami, że nie ma powodu żałować, iż nie zna pani Leroi.

— Nieprawdaż, panie ambasadorze, że pani Leroi jest osobą nieciekawą, niedorastającą wszystkich tych, które bywają tutaj, i że miałam rację nie starając się jej ściągnąć?

Ale pan de Norpois — byli to skutek niezależności czy znużenia? — poprzestał na pełnym szacunku, ale nic niemówiącym ukłonie.

— Wie pan — rzekła doń pani de Villeparisis ze śmiechem — zdarzają się ludzie bardzo pocieszni. Czy pan uwierzy, że miałam dziś wizytę pewnego jegomościa, który chciał we mnie wmówić, iż większą sprawia mu przyjemność ucałować rękę moją niż rękę młodej kobiety.

Zrozumiałem natychmiast, że to był Legrandin. Pan de Norpois uśmiechnął się z lekkim zmrużeniem powiek, jak gdyby chodziło o pożądlivość tak naturalną, że niepodobna mieć jej za złe komuś, kto jej doznaje; niemal o początek romansu, który ambasador gotów był rozgrzeszyć, nawet protegować, z przewrotną pobłażliwością *à la Voisenon*<sup>444</sup> lub *à la Crébillon-junior*<sup>445</sup>.

— Mało która ręka młodej kobiety byłaby zdolna zrobić to, co widzę tutaj — rzekł niemiecki *Prinz*<sup>446</sup>, wskazując akwarele zaczęte przez panią de Villeparisis.

I spytał jej, czy widziała kwiaty Fantin-Latour<sup>447</sup>, których właśnie była wystawa.

— Pierwszorządne są; Fantin-Latour to, jak się dziś mówi, tęgi pędzel, prawdziwy mistrz palety — oświadczył pan de Norpois — mimo to znajduję, że jego prace nie wytrzymują porównania z kwiatami pani de Villeparisis, w których lepiej czuje się kolorystę kwiatu.

Nawet uwzględnwszy, że stronniczość dawnego kochanka, nawyk pochlebstwa, opinie koterii podyktowały te słowa eks-ambasadorowi, dowodziły one jednak, na jakiej nicości prawdziwego smaku opiera się artystyczny sąd światowców, tak dowolny, że lada co wystarczy, aby kazać im pleść najgorsze brednie, których nie powstrzyma ani nie pohamuje żadne naprawdę szczere wrażenie.

— Nie mam żadnej zasługi w tym, że się znam z kwiatami — odparła skromnie pani de Villeparisis — zawsze żyłam na wsi. Ale — dodała z wdziękiem, zwracając się do księcia — jeżeli sobie przyswoiłam za młodu wiedzę nieco poważniejszą niż inne dzieci wsi, zawdzięczam to bardzo niepospolitemu ziomkowi pańskiemu, panu von Schlegel<sup>448</sup>. Spotkałam go w Broglie, dokąd mnie wzięła ciotka moja Kordelia (marszałkowa de Castellane<sup>449</sup>). Przypominam sobie doskonale, że pan Lebrun<sup>450</sup>, pan de Salvandy<sup>451</sup>, pan Doudon<sup>452</sup> wyciągnęli go na rozmowę o kwiatkach. Byłam kompletnym dzieckiem, nie mogłam dobrze zrozumieć, co on mówi. Ale on lubił się bawić ze mną, wróciwszy zaś do swego kraju, przysłał mi piękny zielnik na pamiątkę wspólnego spaceru faetonem<sup>453</sup> do Val Richer, kiedy to zasnęłam na jego kolanach. Zachowałam ten zielnik; nauczył mnie odróżniać wszystkie właściwości kwiatów, które inaczej nie byłyby mnie uderzyły. Kiedy pani de Barante ogłosiła nieco listów pani de Broglie<sup>454</sup>, pięknych i afektowanych jak ona sama, spodziewałam się znaleźć tam jakąś rozmowę z panem von Schlegel. Ale to była kobieta, która szukała w naturze jedynie argumentów na rzecz religii.

<sup>444</sup>*Voisenon, Claude-Henri de Fusée de* (1708–1775) — francuski dramaturg i prozaik, duchowny; przyjaciel Woletra; pisał libertyńskie, frywolne powieści. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>*Crébillon, Prosper Jolyot de* (1707–1777) — francuski pisarz, liberyn, autor skandalicznych powieści, które obrazowały kulisy życia salonowego, oraz opowiadań o tematyce erotycznej (*Noc i chwila, Igraszki kącika przy kominku*); zwany Crébillonem młodszym (juniozem) dla odróżnienia od jego ojca, autora przesyconych grozą tragedii, noszącego te same imiona. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>*Prinz* (niem.) — książę. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>*Fantin-Latour, Henri* (1836–1904) — francuski malarz i grafik; najbardziej znany z obrazów kompozycji kwiatowych, martwych natur oraz realistycznych portretów. [przypis edytorski]

<sup>448</sup>*Schlegel, Wilhelm von* (1767–1845) — niemiecki poeta, krytyk literacki filolog i tłumacz, brat Friedricha Schlegela, współtwórca idei romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>449</sup>*Castellane, Louise Cordélia* (1796–1847) — córka bankiera Louisa Greffulhe, żona Bonifacego de Castellane, oficera, marszałka Francji; prowadziła znany salon polityczny i literacki. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>*Lebrun, Pierre-Antoine* (1785–1873) — francuski poeta, dramaturg i polityk. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>*Salvandy, Narcisse Achille* (1795–1856) — francuski pisarz i polityk. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>*Doudan, Ximènes* (1800–1872) — francuski dziennikarz, krytyk, moralista. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>*faeton* — czterokołowy sportowy powóz. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>*Broglie, Albertine de* (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

Robert odwołał mnie w głąb salonu, gdzie był z matką.

— Jaki ty byłeś miły — rzekłem — jak ci podziękować! Czy będziesz mógł zjeść ze mną obiad jutro?

— Jutro, dobrze, jeżeli chcesz, ale w takim razie i z Blochem; spotkałem go przed bramą; po chwili chłodu, bo mimo chęci zostawiłem bez odpowiedzi jego dwa listy (nie powiedział mi, że to go zmroziło, ale domyśliłem się), był dla mnie tak czuły, że nie mogę się okazać niewdzięczny wobec takiej przyjaźni. Czuję, z jego strony przynajmniej, że to jest między nami na śmierć i życie.

Nie sądzę, aby Saint-Loup absolutnie się mylił. Wieszanie na kimś psów było często u Blocha skutkiem żywej sympatii, o ile Bloch przypuszczał, że jej ktoś nie odwzajemnia. Że zaś mało wnikał w życie innych, nie przychodziło mu na myśl, że ktoś może być chory albo w podróży itd. Tydzień milczenia zaraz mu się wydawał wpływem rozmyślnego chłodu. Toteż nigdy nie sądziłem, aby jego najgorsze wybuchy jako przyjaciela, a później jako pisarza, były zbyt głębokie. Dochodziły szczytu, gdy ktoś odpowiadał na nie chłodną godnością lub płaszczaniem się, które zachęcało go do zdawania razów; ale ustępowały często wobec gorącej sympatii.

— Co się tyczy nas obu — dodał Saint-Loup — twierdzisz, że byłem miły dla ciebie; ależ ja nic nie zrobiłem! Ciotka Oriana twierdzi, że to ty jej unikasz, że do niej nie mówisz ani słowa. Zastanawia się, czy ty nie masz czego przeciwko niej?

Szczęściem dla mnie, gdybym się dał omamić tym słowom, bliski wyjazd do Balbec przeszkodziłby mi próbować widzieć panią de Guermantes, zapewnić ją, że nic nie mam przeciwko niej, i zmusić ją do okazania mi, że ona ma coś przeciwko mnie. Ale wystarczyło mi przypomnieć sobie, że nie zaproponowała mi nawet obejrzenia Elstirów. Zresztą to nie był zawód; nie spodziewałem się wcale, aby mi pani de Guermantes wspomniała o tym; wiedziałem, że się jej nie podobam, że nie mogę marzyć o tym, aby mnie pokochała; wszystko, czegom mógł pragnąć, to abym dzięki jej dobroci zachował z niej — skorom nie miał jej ujrzeć przed wyjazdem z Paryża — wrażenie całkowicie słodkie, które bym uniósł do Balbec, przedłużone w nieskończoność, nietknięte, zamiast wspomnienia zaprawnego lękiem i smutkiem.

Co chwilę pani de Marsantes przerywała rozmowę z Robertem, aby mi powiedzieć, jak często on jej mówił o mnie, jak on mnie bardzo kocha; była dla mnie tak serdeczna, że mi to robiło niemal przykrość, bo czułem w tym jej obawę pogńiewania syna, którego jeszcze nie widziała dzisiaj, z którym pragnęła co rychlej zostać sama i na którego własny jej wpływ nie dorównywał, jak sądziła, mojemu: stąd potrzeba liczenia się ze mną. Usłyszawszy poprzednio, że pytał Blocha o pana Nissima Bernard, jego wuja, pani de Marsantes spytała, czy to ten, który dawniej mieszkał w Nicei.

— W takim razie znał mego męża jeszcze jako kawalera — odparła. — Mąż mówił mi często o nim jak o najlepszym człowieku, o delikatnym i szlachetnym sercu.

„Powiedzieć, że ten jeden raz nie skłamał; to nie do wiary!” — pomyślałby Bloch.

Przez cały czas byłbym pragnął zapewnić panią de Marsantes, że Robert jest do niej nieskończenie więcej przywiązany niż do mnie i że gdyby mi ona nawet okazała niechęć, nie byłbym zdolny buntować syna przeciw niej, odciągnąć go od niej. Ale od czasu jak pani de Guermantes poszła, mogłem swobodniej obserwować Roberta; wówczas dopiero spostrzegłem, że znów wzbiera w nim gniew, napływając do jego twardej i posępnej twarzy. Bałem się, aby na wspomnienie popołudniowej sceny nie czuł się upokorzony wobec mnie, że dał sobą tak bezkarnie poniewierać kochance.

Wyrwał się gwałtownie matce, która mu okoliła szyję ramieniem, podszedł do mnie, pociągnął mnie poza stół z kwiatami, przy którym siedziała pani de Villeparisis, i dał mi znak, abym się udał za nim do saloniku obok. Skierowałem się tam dość żywo, kiedy pan de Charlus, przypuszczając może, że ja już wychodzę, opuścił nagle pana von Faffenheim, z którym rozmawiał, i skręcił tak, że się znalazł na wprost mnie. Ujrzałem z niepokojem, że on bierze kapelusz, w którym było owo „G” z koroną księżęcą. W drzwiach do saloniku baron rzekł, nie patrząc na mnie:

— Ponieważ widzę, że pan teraz bywa w świecie, niech mi pan zrobi tę przyjemność i odwiedzi mnie kiedyś. Ale to dosyć skomplikowane — dodał niedbale, a zarazem obliczając coś w myśli, tak jakby chodziło o przyjemność, której by już nie odnalazł, skoro by przepuścił sposobność omówienia ze mną warunków jej ziszczenia. — Rzadko bywam

w domu, musiałby pan napisać do mnie. Ale wolałbym to panu wytłumaczyć spokojniej. Wychodzę za chwilę. Czy zechce pan przejść ze mną kilka kroków? Nie zatrzymam pana długo.

— Racz pan pozwolić, że panu zwrócę uwagę — rzekłem. — Wziął pan przez omyłkę kapelusz kogoś z gości.

— Nie wolno mi wziąć własnego kapelusza?

Przypuszczałem — ile że to samo zdarzyło mi się nieco przedtem — że ktoś mu zabrał kapelusz i że baron wybrał sobie na chybił trafił jakiś inny, aby nie wracać z gołą głową; zapewne wprawiliem go w zakłopotanie, odsłaniając jego podstęp. Oświadczyłem panu de Charlus, że muszę przedtem coś powiedzieć Robertowi.

— Rozmawia właśnie z tym idiotą księciem de Guermantes.

— To śliczne, co pan mówi, powtórzę to mojemu bratu.

— A, pan myśli, że to może interesować pana de Charlus? (Wyobrażałem sobie, że jeżeli baron ma brata, ten brat musi się nazywać również Charlus. Saint-Loup dał mi wprawdzie jakieś objaśnienia w tej mierze w Balbec, ale zapomniałem ich).

— Kto panu mówi o panu de Charlus? — rzekł baron impertynencko. — Niech pan idzie do Roberta. Wiem, że pan brał dziś udział w jednej z orgii uprawianych z kobietą, która go okrywa hańbą. Powinien by pan użyć na niego swego wpływu, aby zrozumiał zgryzotę, jaką sprawia biednej matce i nam wszystkim, włączając nasze nazwisko w błocie.

Byłbym rad odpowiedzieć, że na owym hańbiącym śniadaniu mówiło się tylko o Emersonie<sup>455</sup>, o Ibsenie<sup>456</sup>, o Tolstoj<sup>457</sup> i że młoda kobieta prawila Robertowi kazanie, żeby pił tylko wodę; aby dać jakąś pociechę Robertowi, który musiał cierpieć w swojej dumie, starałem się wybielić jego kochankę. Nie wiedziałem, że w tej samej chwili, mimo iż wściekły na nią, on obsypuje samego siebie wymówkami. Nawet w kłótniach między kimś dobrym a kimś złym i kiedy słuszność jest całkowicie po jednej stronie, zawsze bywa, iż jakaś błahostka może dać osobie złej pozór słuszności na jednym punkcie, wszystkie zaś inne punkty osoba ta zlekceważy; byle tedy ów człowiek dobry trochę jej potrzebował, byle był przybity zerwaniem, przygnębienie jego obudzi w nim skrupuły, przypomni mu niedorzeczne wymówki, jakimi go obsypano, przy czym zapyta sam siebie, czy nie były poniekąd sprawiedliwe.

— Zdaje się, że źle postąpił w tej sprawie z naszymi — rzekł do mnie Robert. — Oczywiście, nie robiłem tego w złej intencji, ale rozumiem, że ktoś może patrzeć na rzeczy z innego punktu niż my sami. Rachel miała dzieciństwo bardzo ciężkie. Dla niej ja jestem mimo wszystko bogacz, który myśli, że wszystko osiągnie pieniędzmi i z którym biedny nie może walczyć, czy by chodziło o decyzję Boucheron, czy o proces sądowy. Niewątpliwie ona była bardzo okrutna; ja przecie zawsze chciałem tylko jej dobra. Ale zdaję sobie sprawę: ona sądzi, iż ja chciałem jej dać uczuć, że ją można trzymać pieniędzmi, a to nie jest prawda. Ona, która mnie tak kocha, co ona musi myśleć! Biedna mała, gdybyś ty wiedział... Ona ma tyle delikatności, nie umiem ci powiedzieć... często robiła dla mnie rzeczy czarujące. Jakaż ona musi być nieszczęśliwa w tej chwili! W każdym razie, co bądź się stanie, nie chcę, żeby mnie brała za bydlaka, lecę do Boucheron zamówić kulię. Kto wie, widząc, że ja postępuję w ten sposób, może uznać swoje winy. Widzisz, ja nie mogę znieść myśli, że ona cierpi w tej chwili. To, co się cierpi samemu, to się wie; to nie jest nic. Ale powiedzieć sobie, że ona cierpi, i nie móc sobie tego wyobrazić... mam wrażenie, że bym oszalał; wolałbym raczej nie widzieć jej nigdy niż pozwolić jej cierpieć. Niech będzie szczęśliwa beze mnie, skoro tak być musi, to wszystko, czego żądam. Słuchaj, wiesz, dla mnie wszystko, co jej dotyczy, jest olbrzymie, nabiera czegoś kosmicznego... lecę do jublera i potem przeproszę ją. Aż do tego czasu co ona będzie sobie o mnie

<sup>455</sup> Emerson, Ralph Waldo (1803–1882) — amerykański eseista, poeta i filozof, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli i pisarzy XIX w.; przedstawiciel transcendentalizmu. [przypis edytorski]

<sup>456</sup> Ibsen, Henrik (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczka*. [przypis edytorski]

<sup>457</sup> Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niespreczewiania zła przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]



myślała! Gdyby choć wiedziała, że ja przyjdę! W każdym razie mógłbyś zajść do niej; kto wie, wszystko się może ułożyć. Może — rzekł z uśmiechem, jakby nie śmiejąc uwierzyć w takie marzenie — pojedziemy wszyscy troje na obiad na wieś. Ale nie można jeszcze wiedzieć; ja tak nie umiem z nią postępować; biedna mała, znów ją może tylko zranić. A przy tym jej decyzja jest może nieodwołalna.

Robert pociągnął mnie gwałtownie do swojej matki.

— Do widzenia — rzekł do niej — muszę jechać. Nie wiem, kiedy znów dostanę przepustkę, z pewnością nie przed miesiącem. Napiszę ci, skoro będę wiedział.

Z pewnością Saint-Loup nie był z tych synów, którzy będąc w towarzystwie z matką, sądzą, iż opryskliwość w stosunku do niej powinna zrównoważyć uśmiechy i ukłony, jakie znajdują dla obcych. Nic powszechniejszego niż ten ohydny odwet tych, co zdają się wierzyć, że grubiaństwo wobec swoich dopełnia w zupełnie naturalny sposób galowego stroju. Cokolwiek biedna matka powie, syn jej, tak jakby go wyciągnięto z domu wbrew woli i jakby chciał jej drogo dać opłacić swoją obecność, gasi natychmiast ironicznym, precyzyjnym i okrutnym sprzeciwem każde nieśmiało wygłoszone zdanie; daremnie matka poddaje się natychmiast — nie mogąc go tym ułagodzić — opinii syna, tej wyższej istoty: ona będzie sławiła poza oczy jego uroczy charakter, a on nie oszczędził jej najdokuczliwszych szpileczek! Saint-Loup był całkiem inny; ale niepokój, jakim go nappełniała nieobecność Racheli, sprawiał, że z odmiennych przyczyn był dla swojej matki nie mniej przykry niż tamci synowie dla swoich. I na słowa, które wyrzekł, ujrzałem, jak zrywa się to samo trzepotanie, podobne trzepotaniu skrzydeł, jakiego pani de Marsantes nie mogła wstrzymać za przybyciem syna; ale teraz wlepiła w niego strwożoną twarz, zrozpaczone oczy:

— Jak to, Robercie, odchodzisz, serio? moje dzieciątko! Jedyny dzień, kiedy cię mogłam mieć!

I prawie po cichu, możliwie naturalnym tonem, starając się wygnać z głosu wszelki smutek, aby nie budzić w synu litości, która byłaby może dla niego okrutna lub też bezcelowa i zdolna go jedynie rozdrażnić, dodała na kształt prostego, rzeczowego argumentu:

— Wiesz, że to nie jest ładnie, to, co ty robisz.

Ale z tą prostotą łączyła tyle nieśmiałości, aby okazać synowi, że ona nie robi zamachu na jego swobodę, tyle czułości, aby jej nie mógł wyrzucać, że go krępuje w jego przyjemnościach, że Saint-Loup musiał dostrzec w sobie samym coś jakby możliwość rozczulenia się, to znaczy przeszkodę do spędzenia wieczoru z kochanką. Toteż wpadł w gniew:

— Bardzo żałuję. Ładnie czy nie, ale tak już jest.

I zaczął robić matce wymówki, czując z pewnością, że on sam może na nie zasługuje; w ten sposób egoiści mają zawsze ostatnie słowo; przyjąwszy za zasadę, że ich postanowienie jest nieodwołalne, im bardziej uczucie, do którego ktoś u nich apeluje, jest wzruszające, tym bardziej wydają się im godni potępienia nie oni sami, że się opierają, ale ci, co im narzucają konieczność oporu; twardość ich może sięgać ostatecznego okrucieństwa, przy czym twardość ta pomnaża jedynie w ich oczach winy istoty na tyle niedelikatnej, aby cierpieć, aby mieć rację i zadawać im tak niecnie ten ból, iż muszą działać wbrew własnej litości. Zresztą pani de Marsantes sama z siebie przestała nalegać, bo czuła, że go już nie zatrzyma.

— Zostawiam cię — rzekł do mnie — ale niech go mama nie trzyma długo, bo on koniecznie musi iść zaraz z wizytą.

Czułem, iż moja obecność nie może zrobić żadnej przyjemności pani de Marsantes; ale wołałem nie odchodzić razem z Robertem, aby nie myślała, że ja mam udział w przyjemnościach, które ją pozbawiają syna. Byłbym pragnął znaleźć jakieś usprawiedliwienie dla Roberta, mniej przez przyjaźń dla niego niż przez litość dla niej. Ale ona przemówiła pierwsza:

— Biedny mały — rzekła — jestem pewna, że mu zrobiłam przykrość. Widzi pan, drogi panie, matki są bardzo samolubne; on nie ma przecież tak wiele przyjemności, tak rzadko przyjeżdża do Paryża. Mój Boże, gdyby jeszcze nie wyszedł, chciałabym go móc złapać, nie aby go zatrzymać, ale aby mu powiedzieć, że nie mam do niego żalu, uważam, że on miał rację. Czy to panu nic nie szkodzi, że ja wyjrzę na schody?

Wyszliśmy razem.

— Robercie, Robercie! — wołała. — Nie, już poszedł, spóźniłam się.

Egoizm, Cierpienie,  
Sumienie, Okrucieństwo

Teraz byłbym się równie chętnie podjął misji rozłączenia Roberta z kochanką, jak przed kilku godzinami misji ułatwienia im wspólnej podróży i w ogóle współżycia. W jednym wypadku Saint-Loup uznałby mnie za zdrajcę, w drugim rodzina nazwałaby mnie jego złym duchem. A przecież byłem tym samym człowiekiem na przestrzeni kilku godzin.

Wróciliśmy do salonu. Nie widząc Roberta, pani de Villeparisis wymieniła z panem de Norpois owo pytające, drwiące i niezbyt współczujące spojrzenie, jakie ma ktoś, pokazując zbyt zazdrosną żonę albo zbyt czułą matkę, które dają z siebie widowisko; spojrzenie mające znaczyć: „Patrz pan, musiała być burza”.

Robert poszedł do kochanki, przynosząc jej wspaniałą klejnot, którego, w myśl ich układu, nie powinien był jej dać. Zresztą to wyszło na jedno, bo ona nie wzięła naszyjnika; nawet później nigdy nie zdołał jej skłonić do przyjęcia. Niektórzy przyjaciele Roberta sądzili, że te jej dowody bezinteresowności są wyrachowaniem mającym go przywiązać tym mocniej. Ale jej nie zależało na pieniądzach, wyjąwszy może na to, aby móc wydawać bez rachuby. I widziałem, jak rozdawała je na prawo i lewo ludziom, o których myślała, że są biedni. „W tej chwili — mówili Robertowi przyjaciele, aby przeciwważyć złymi słowami jakiś bezinteresowny postępek Racheli — w tej chwili spaceruje w hallu »Folies Bergère«<sup>458</sup>. Ta Rachela to zagadka, to prawdziwy sfinks”. Ileż zresztą widzimy kobiet interesownych (czego dowodem, że idą na utrzymanie), jak przez delikatność, zakwitającą czasami w tej sferze, same powściągną tysiącem nieuchwytnych granic hojność swego kochanka!

Robert nie wiedział bez mała nic o zdradach kochanki i truł się w myśli tym, co było jedynie błahostką wobec prawdziwego życia Racheli, życia zaczynającego się co dzień dopiero wówczas, gdy on się z nią pożegnał. Nie wiedział prawie nic o tych zdradach. Można by mu powiedzieć o nich, nie osłabiając jego wiary w Rachelę. Bo uroczym prawem natury, objawiającym się w najbardziej złożonych społeczeństwach, jest to, że człowiek żyje w całkowitej nieznajomości przedmiotu ukochania. Z jednej strony zwierciadła, kochanek powiada sobie: „To anioł, nigdy nie zgodzi się należeć do mnie, pozostaje mi tylko umrzeć, a przecież ona mnie kocha; kocha mnie tak, że kto wie... ale nie, to niemożliwe”. I w egzaltacji swoich pragnień, w niepokoju oczekiwania, ileż klejnotów składa u stóp tej kobiety, zapożycza się, aby jej oszczędzić jakiejś troski; podczas gdy z drugiej strony ścianki, przez którą te rozmowy nie przechodzą, niby te, które wymieniają ludzie spacerujący przed akwariem, publiczność mówi: „Nie zna jej pan? Winszuję panu; ona okradła, zrujnowała nie wiem ilu mężczyzn; nie ma gorszej dziwki jak ona. To skończona hultajka. I jaka szczwana!”. I może publiczność nie całkiem się myli co do ostatniego epitetu, bo nawet człowiek sceptyczny, który nie jest naprawdę zakochany w tej kobiecie i któremu się ona tylko podoba, powiada do przyjaciół: „Ależ nie, mój drogi, to wcale nie jest kokota. Nie powiem, aby w swoim życiu nie miała paru epizodów, ale to nie jest kobieta, której się płaci; to by było stanowczo za drogo! Z nią — to pięćdziesiąt tysięcy franków albo nic”. Otóż ten człowiek wydał dla niej pięćdziesiąt tysięcy franków, miał ją raz, ale ona — znajdując zresztą współnika w nim samym, w jego próżności — umiała mu wmówić, że on był z tych, którzy ją mieli gratis. Takie jest społeczeństwo, gdzie każda istota jest podwójna i gdzie człowieka najbardziej przejrzanego na wylot, najbardziej osławionego, jakiś inny człowiek będzie znał niby pod osłoną muszli, miękkiego kokona, rozkosznej naturalnej ciekawości. Było w Paryżu dwóch godnych ludzi, którym Saint-Loup się nie kłaniał i o których nie mógł mówić bez drżenia w głosie, nazywając ich sutenerami; a to dlatego, że ich zrujnowała Rachela.

— Wyrzucam sobie tylko jedno — rzekła po cichu pani de Marsantes — niepotrzebnie powiedziałam Robertowi, że on jest dla mnie niedobry. Jemu, temu cudownemu, jedyńemu, niezrównanemu synowi, widząc go nareszcie, powiedzieć, że nie jest dobry! Wolałabym, żeby mnie wybito kijem, bo jestem pewna, że jakakolwiek przyjemność miała go spotkać dziś wieczór (biedny mały, nie ma ich wiele!), zepsuje mu ją to krzywdzące słowo. Ale nie zatrzymuję drogiego pana, skoro się pan spieszy.

<sup>458</sup> *Folies Bergère* — paryska sala koncertowa, najbardziej popularna na przełomie XIX i XX w.; zyskała sławę dzięki wystawianym tam przedstawieniom muzycznym, w których często kobiety pokazywały się w skąpych kostiumach. [przypis edytorski]

Pani de Marsantes pożegnała mnie ze wzruszeniem. Uczucie to odnosiło się do Roberta, była szczerą. Ale przestała nią być, aby się stać z powrotem wielką damą:

— Bardzo mnie pan *zainteresował*, byłam *szczęśliwa*, że mogła z panem porozmawiać. Dziękuję, dziękuję!

I z pokorną miną wlepiła we mnie spojrzenia wdzięczne, upojone, tak jakby moja rozmowa była jedną z największych przyjemności, jakich zaznała w życiu. Te urocze spojrzenia doskonale godziły się z czarnymi kwiatami w deseniach jej sukni; spojrzenia wielkiej damy, która zna swój fach.

— Ależ ja się nie spieszę, proszę pani; czekam zresztą na pana de Charlus, z którym się umówiłem.

Pani de Villeparisis usłyszała ostatnie słowa. Zdawała się nimi przykro uderzona. Gdyby nie chodziło o rzecz niezgodną z kategorią uczuć, miałbym wrażenie, że uczuciem urażonym w pani de Villeparisis w tej chwili była wstydlivość. Ale ta hipoteza nie przeszła mi nawet przez głowę. Byłem rad z pani de Guermantes, z Roberta, z pani de Marsantes, z pana de Charlus, z pani de Villeparisis, nie zastanawiałem się, paplałem wesoło na prawo i lewo.

— Pan ma wyjść z moim kuzynem Palamedem? — rzekła margrabina.

Myśląc, że fakt mojej zażyłości z siostrzeńcem, którego ceniła tak wysoko, może wywrzeć korzystne wrażenie na pani de Villeparisis, odparłem z radością:

— Prosił mnie, abyśmy wyszli razem. Bardzo mnie to ucieszyło. Jesteśmy zresztą z sobą bliżej, niż pani przypuszcza, a jestem gotów uczynić wszystko, aby być z nim jeszcze bliżej.

Niezadowolenie pani de Villeparisis zmieniło się w wyraźną troskę.

— Niech pan na niego nie czeka — rzekła z naciskiem. — Rozmawia z panem von Faffenheim, z pewnością nie pamięta już tego, co panu mówił. Niech pan idzie, niech pan prędko korzysta z tego, że on jest odwrócony tyłem.

Pierwszy niepokój pani de Villeparisis podobny był (ale skąd?) do odruchu zawstydzenia. Jej naleganie, jej sprzeciw — gdyby sędzić jedynie z wyrazu twarzy — mogłyby się zdawać dyktowane cnotą. Co do mnie, wcale mi nie było pilno do Roberta i jego przyjaciółki. Ale pani de Villeparisis tak widocznie zależało na tym, abym się zabrał, że myśląc, iż ma do pomówienia z siostrzeńcem o coś ważnym, pożegnałem ją. Obok niej siedział ciężko w fotelu pan de Guermantes, wspaniała i olimpijski. Można by rzec, że rozlana w jego członkach i wszechobecna świadomość wielkich bogactw daje mu szczególną gęstość, tak jakby te bogactwa stopiono w tyglu w jedną sztabę ludzką, aby stworzyć tego tak drogiego człowieka. Kiedyś go żegnał, podniósł się grzecznie z krzesła: uczułem bezwładną masę trzydziestu milionów, poruszonych z miejsca i podtrzymywanych starym francuskim wychowaniem, stojącą naprzeciw mnie. Zdawało mi się, że widzę posąg owego Olimpijskiego Jowisza<sup>459</sup>, który Fidiasz<sup>460</sup>, jak powiadają, odlał cały w złocie. Taka była władza, jaką dobre wychowanie miało nad panem de Guermantes, nad ciałem pana de Guermantes przynajmniej, bo nie panowało ono równie przemożnie nad duchem księcia. Pan de Guermantes śmiał się ze swoich dowcipów, ale nie rozchmurzały go dowcipy innych.

Na schodach usłyszałem za sobą głos:

— Więc tak pan na mnie czeka!

Był to pan de Charlus.

— Nic panu nie szkodzi przejść kilka kroków pieszo? — rzekł sucho, kiedyśmy się znaleźli w dziedzińcu. — Przejdziemy się, aż znajdzie fiakra, który by mi się nadał.

— Chciał pan o czymś ze mną mówić, panie baronie?

— A tak, prawda, chciałem w istocie powiedzieć panu pewne rzeczy; ale nie jestem pewien, czy mu je powiem. Niewątpliwie, sędzę, że mogłyby się stać dla pana zaczątkiem nieobliczalnych korzyści. Ale przeczuwam również, że wniosłyby one w moją egzystencję,

<sup>459</sup>Jowisz a. *Jupiter* (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>460</sup>Fidiasz (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

w wieku, gdy człowiek zaczyna tęsknić za spokojem, dużo straty czasu, dużo zamętu. Pytam sam siebie, czy pan jesteś wart, abym sobie zadawał dla niego tyle kłopotu, a nie mam przyjemności znać pana na tyle, aby go osądzić. Może też nie pragnie pan w tym stopniu tego, co mógłbym zrobić dla pana, abym sobie miał zadać tyle utrapień, bo powtarzam bardzo szczerze, dla mnie to może być jedynie utrapieniem.

Okrzyknąłem się, że w takim razie nie trzeba nawet o tym myśleć. Abnegacja ta nie zdawała się być w guście barona.

— Te ceremonie nie znaczą nic — rzekł twardo. — Nie ma nic przyjemniejszego niż zadawać sobie trudy dla osoby, która jest tego warta. Dla najlepszych spomiędzy nas sztuka, antyki, kolekcje, ogród to są tylko namiastki, *ersatz*, alibi. Z głębi naszej beczki, jak Diogenes<sup>461</sup>, wołamy człowieka. Hodujemy begonie, strzyżemy cyprysy w braku czegoś lepszego, dlatego że cyprysy i begonie dają z sobą robić, co chcemy. Ale wolelibyśmy oddać swój czas roślinie ludzkiej, gdybyśmy byli pewni, że jest tego warta. W tym mieści się cała kwestia: pan musi znać trochę siebie samego. Czy pan jesteś wart, czy nie?

— Nie chciałbym, proszę pana, za nic w świecie sprawić mu kłopotów — rzekłem — ale co się tyczy mojej przyjemności, niech mi pan wierzy, że wszystko, co pochodzi od pana, sprawi mi wielką przyjemność. Jestem głęboko wzruszony, że pan zwrócił na mnie uwagę i że pan pragnie być mi użyteczny.

Ku memu zdumieniu baron podziękował mi za te słowa niemal z zapalem. Wziął mnie pod ramię z tą nagłą poufalością, która mnie już uderzyła w Balbec i która stanowiła kontrast z oschłością jego tonu.

— Zważywszy niedoświadczenie pańskiego wieku — odparł — mógłby pan wyrzec czasami słowa zdolne wykopać między nami przepaść nie do przebycia. Przeciwnie, to, coś pan rzekł przed chwilą, to są właśnie rzeczy zdolne mnie wzruszyć i kazać mi wiele uczynić dla pana.

Wciąż idąc ze mną pod ramię i wymawiając te słowa, które mimo domieszki czegoś wzgardliwego były tak serdeczne, pan de Charlus wpijał we mnie owe uporczywe, przenikliwe, twarde spojrzenia, które mnie uderzyły pierwszego rana, kiedy go ujrzałem pod kasynem w Balbec, a nawet wiele lat wprzód, koło różowego głogu, obok pani Swann, którą brałem wówczas za jego kochankę, w parku w Tansonville. To znów, za chwilę, pozwalał błędzić tym spojrzeniom dokoła i badać fiakry (które o tej godzinie zmiany były dość liczne) tak pilnie, że niejeden z nich zatrzymał się, bo woźnica myślał, że chcemy wsiąść. Ale pan de Charlus odprawiał go natychmiast.

— Żaden nie jest dla mnie — rzekł — cała rzecz to kwestia latarni, dzielnicy, do której wracają. Pragnąłbym, proszę pana — rzekł — aby się pan nie omylił co do na wskroś bezinteresownego i altruistycznego charakteru propozycji, jaką panu zrobię.

Uderzyło mnie (bardziej jeszcze niż w Balbec), jak dalece dykcja barona podobna była do sposobu mówienia Swanna.

— Jest pan dosyć inteligentny, jak sądzę, aby nie przypuszczać, że to przez „brak stosunków”, z obawy samotności i nudy, zwracam się do pana. Nie lubię dużo mówić o sobie, ale ostatecznie, wie pan może — dość głośny artykuł „Timesa” robi do tego aluzję — że cesarz austriacki, który mnie zawsze szacował życzliwością i który raczy utrzymywać ze mną kuzynowskie stosunki, oświadczył świeżo w rozmowie (która się stała publiczną), że gdyby hrabia de Chambord<sup>462</sup> miał przy sobie człowieka znającego równie gruntownie jak ja podszewki polityki europejskiej, byłby dzisiaj królem Francji. Często myślałem, że jest we mnie — nie z racji moich nikłych darów, ale dzięki okolicznościom, które pan poznasz może kiedyś — skarb doświadczenia, rodzaj tajnego i nieoszacowanego *dossier*<sup>463</sup>, którego nie uważałem za właściwe spożytkować osobiście, ale które jest bez ceny dla młodego człowieka, dostającego ode mnie w ręce w ciągu kilku miesięcy to, na czego nabycie obróciłem więcej niż trzydzieści lat i co może posiadam sam jeden.

<sup>461</sup>Diogenes z Synopy (413–323 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel cyników; , znany z pogardy wobec dóbr materialnych i wygód; wg legendy mieszkał w beczce; chodził po mieście w dzień z zapaloną latarnią, a pytającym, co robi, odpowiadał: „szukam człowieka”. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>Henri d'Artois (1820–1883) — książę Bordeaux, nieproklamowany król Francji w dniach 2–9 sierpnia 1830 jako Henryk V, następnie legitymistyczny pretendent do tronu francuskiego; po proklamowaniu monarchii lipcowej wyjechał z kraju, używając tytułów „Henryk V” i „hrabia de Chambord”. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>*dossier* (fr.) — zbiór dokumentów dotyczących jakiejś osoby lub sprawy. [przypis edytorski]

Nie mówię o rozkoszach intelektualnych, jakie by pan znalazł, dowiadując się pewnych sekretów, za których poznanie jakiś Michelet<sup>464</sup> naszych czasów oddałby lata życia i dzięki którym pewne wypadki przybrałyby w jego oczach zupełnie odmienną postać. I nie tylko mówię o faktach spełnionych, ale o łańcuchu okoliczności (było to jedno z ulubionych wyrażeń pana de Charlus i często, kiedy je wymawiał, składał obie ręce tak, jak się czyni do modlitwy, ale ze sztywnymi palcami, jak gdyby chcąc wyrazić tym gestem ów spłot okoliczności, których nie określał bliżej, oraz ich zazębienie się). Dałbym panu nieznaną wykład nie tylko przeszłości, ale przyszłości.

Tu pan de Charlus przerwał, aby mi postawić kilka pytań co do Blocha, o którym mówiono (sądziłem, że baron wówczas nie słuchał) u pani de Villeparisis. I intonacją umiał tak dobrze punktować to, co mówił, że zdawało się, iż myśli całkiem o czym innym, a mówi machinalnie; przez prostą uprzejmość spytał mnie, czy mój kolega jest młody, przystojny itd. Gdyby go Bloch słyszał, byłby jeszcze w większym kłopotcie niż z panem de Norpois (mimo iż dla bardzo odmiennych przyczyn), chcąc zgadnąć, czy pan de Charlus jest za Dreyfusem, czy przeciw.

— Jeżeli pan chce rozwinąć swoją inteligencję — rzekł pan de Charlus, zadawszy mi kilka pytań dotyczących Blocha — nieźle pan robi, że wśród swoich przyjaciół ma pan paru cudzoziemców.

Odparłem, że Bloch jest Francuzem.

— A! — rzekł pan de Charlus — ja myślałem, że to Żyd!

Zaakcentowanie tej sprzeczności kazało mi przypuszczać, że pan de Charlus jest większym antydreyfusistą niż ktokolwiek z moich znajomych. Oświadczył się, przeciwnie, przeciw zarzutowi zdrady, o którą oskarżano Dreyfusa. Ale uczynił to w tej formie:

— Zdaje się, że dzienniki mówią, iż Dreyfus popełnił zbrodnię przeciw ojczyźnie; zdaje się, że tak mówią, bo ja nie zwracam uwagi na dzienniki, czytam je tak, jak myję ręce, nie znajdując, aby warto się było tym interesować. W każdym razie ta zbrodnia jest fikcją; rodak pańskiego przyjaciela popełniłby zbrodnię przeciw ojczyźnie, gdyby zdradził Judeę, ale co on ma wspólnego z Francją?

Napomknąłem, że gdyby była wojna, Żydów powołano by pod broń tak samo jak innych.

— Być może, i nie jest dowiedzione, czy to nie byłaby nieostrożność. Ale kiedy się sprowadza Senegalczyków albo Malgaszów, nie sądzę, aby oni wiele serca wkładali w obronę Francji, i to jest bardzo naturalne. Waszego Dreyfusa raczej by można skazać za naruszenie praw gościnności. Ale dajmy temu pokój. Może by pan poprosił swego przyjaciela, aby mnie wprowadził na jaką piękną uroczystość w bóżnicy, na jakieś obrzezanie, śpiewy żydowskie. Mogłby wynająć salę i urządzić dla mnie jakieś biblijne *divertissement*, jak panienki z Saint-Cyr<sup>465</sup> grały sceny zaczerpnięte z *Psalmów* przez Racine'a dla rozrywki Ludwika XIV<sup>466</sup>. Moglibyście tam może nawet wprowadzić jakieś komiczne scenki. Na przykład walkę między pańskim przyjacielem i jego ojcem, w której syn by go zranił jak Dawid Goliata<sup>467</sup>. To by mogła być farsa wcale uciechna. Mogłby nawet, skoro by się rozmachał, przetrzepać porządnie to ścierwo („ścierwo”, jak mówi moja służąca), swoją matkę. To by było bardzo ładne i mogłoby nam sprawić przyjemność, he, młody przyjacielu, skoro lubimy egzotyczne spektakle i skoro poturbować to pozaeuropejskie indywiduum znaczyłoby dać zasłużoną nauczki starej kłepie.

Mówiąc te okropne, niemal obłąkane słowa, pan de Charlus ścisnął mi ramię aż do bólu. Przypominałem sobie, że rodzina pana de Charlus cytowała wiele rysów anielskiej dobroci barona dla tej starej służącej, której molierowską gwarę przypominał w tej chwili; i powiadałem sobie, że byłoby interesujące ustalić mało dotąd zbadane stosunki między dobrocią a złością — mimo całej ich rozbieżności — w jednym i tym samym sercu.

<sup>464</sup>Michelet, Jules (1798–1874) — francuski historyk, ceniony przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

<sup>465</sup>Saint-Cyr — szkoła klasztorna w pobliżu Wersalu, zał. w 1686 dla młodych dam z ubogich rodzin szlacheckich. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

<sup>467</sup>Dawid i Goliat — postaci biblijne; młody pasterz Dawid w pojedynku pokonał Goliata, olbrzymiego filistyńskiego wojownika, wyrzuconym z procy kamieniem. [przypis edytorski]

Oznajmiłem baronowi, że w każdym razie pani Bloch już nie żyje, co zaś do starego Blocha, nie wiem, czy by mu przypadła do smaku zabawa, w której mógłby stracić oko. Pan Charlus był wyraźnie zirytowany:

— Bardzo nie w porę — rzekł — umarła ta kobieta. A co do wybitych oczu, właśnie Synagoga jest ślepa, nie widzi prawd Ewangelii. W każdym razie, pomyśl pan, w chwili gdy wszyscy ci nieszczęśni Żydzi drżą przed idiotyczną wściekłością chrześcijan, jakimż zaszczytem byłoby dla nich widzieć, że człowiek taki jak ja zniża się do bawienia się ich igraszkami.

W tej chwili spostrzegłem starszego pana Blocha, który minął nas, idąc zapewne naprzeciw syna. Nie widział nas, ale ofiarowałem się, że go przedstawię panu de Charlus. Nie domyślałem się gniewu, jaki rozpętam w swoim towarzyszku:

— Przedstawić mi go! Ależ, doprawdy, pan nie ma najmniejszego poczucia walorów! Nie tak łatwo jest dostąpić zaszczytu mojej znajomości. W danym wypadku nieprzyzwoitość byłaby dubeltowa z przyczyny młodego wieku tego, kto przedstawia, i nikczemności tego, którego przedstawia. Co najwyżej, o ile wyprawia dla mnie to azjatyckie igrzysko, którego plan naszkicowałem przed chwilą, mógłbym zaszczyścić tę plugawą figurę paroma łaskawymi słowy. Ale pod warunkiem, że się wprzód da porządnie wygrzmocić swemu synowi. Wówczas mógłbym się posunąć do wyrażenia mu swojej satysfakcji.

Zresztą pan Bloch nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. Idąc, złożył pani Sazerat głęboki ukłon, bardzo dobrze przez nią przyjęty. Zdumiało mnie to, bo niegdyś w Combray dama ta była oburzona, że rodzice przyjmują młodego Blocha, do tego stopnia była antysemitką. Ale dreyfusizm, jak wentylator, zaniósł aż do niej w ciągu kilku dni pana Blocha. Ojciec mego przyjaciela zachwycony był panią Sazerat; głaskał go zwłaszcza mile antysemityzm tej damy, który mu się wydał dowodem żywości jej wiary oraz szczerości jej dreyfusizmu, a zarazem przydawał ceny wizycie, do której go uprawniła. Nie uraziło go nawet, kiedy pani Sazerat przez nieuwagę rzekła w jego obecności: „Pan Drumont<sup>468</sup> pakuje rewizjonistów do wspólnego worka z protestantami i Żydami. Przemile sąsiedztwo!”

„Bernardzie — z dumą powiedział za powrotem do domu pan Bloch do pana Nissim Bernard — ty wiesz, ona ma przesady!” Ale Nissim Bernard odpowiedział jedynie anielskim spojrzeniem wzniesionym ku niebu. Smucąc się niedolą Żydów, wspominając swoich przyjaciół chrześcijan, stając się z biegiem lat zmanierowanym i sztucznym z przyczyn, które poznamy później, robił obecnie wrażenie jakiejś prerafaelitycznej<sup>469</sup> larwy, nieregularnie porosłej szczecią podobną do włosów utopionych w opalu.

— Cała ta sprawa Dreyfusa — ciągnął baron, wciąż trzymając mnie pod ramię — ma tylko jedną przykrą stronę: tę, że niszczy *towarzystwo* (nie powiadam „dobre towarzystwo”, od dawna już towarzystwo nie zasługuje na ten chlubny epitet) przez napływ pań i panów Łykowskich, Łykowiczów i Łykowieckich, słowem ludzi nieznanych, których spotykam nawet u swoich kuzynek, dlatego że należą do ligi patriotycznej, antyżydowskiej i sam już nie wiem jakiej, tak jakby opinie polityczne dawały prawo do pozycji socjalnej.

Ta światowa czczość tym bardziej zbliżała pana de Charlusa do księżnej de Guermantes. Podniosłem to podobieństwo. Ponieważ baron zdawał się mniemać, że ja go nie znam, przypomniałem mu wieczór w Operze, gdzie wyraźnie chował się przede mną. Oświadczył tak stanowczo, że mnie wcale nie widział, iż byłbym w to w końcu uwierzył, gdyby niebawem drobna okoliczność nie kazała mi wnosić, że pan de Charlus, może przez nadmiar pychy, nie lubi, aby go ze mną widziano.

— Wróćmy do pana — rzekł — i do moich projektów na niego. Istnieje, drogi panie, między pewnymi ludźmi rodzaj masonerii, o której niepodobna mi bliżej mówić, ale która liczy w tej chwili w swoich szeregach czterech monarchów Europy. Otóż otoczenie jednego z nich chce go uleczyć z jego chimery<sup>470</sup>. To jest rzecz bardzo poważna i może nas doprowadzić do wojny. Tak, drogi panie, absolutnie tak. Zna pan historię

<sup>468</sup> Drumont, Édouard (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémitique de France (Liga antysemitka Francji) w 1889 oraz antysemitycznej gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>469</sup> prerafaelityczny — taki jak w prerafaelityzmie, kierunku w sztuce powstałym w XIX w. w Anglii, wzorującym się na sztuce włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

<sup>470</sup> chimera — tu: urojenie, coś nierealnego, uluda. [przypis edytorski]

owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską<sup>471</sup>. Było to szaleństwo. Uleczono go. Ale z chwilą, gdy się pozbył swego szaleństwa, kompletnie zgłupiał. Są choroby, których nie trzeba leczyć, bo właśnie chronią nas od innych, cięższych. Jeden z moich krewnych chorował na żołądek, nic nie mógł trawić. Najlepsi specjaliści od żołądka kurowali go bez skutku. Zaprowadziłem go do pewnego lekarza (też, mówiąc nawiasem, ciekawa figura, o której byłoby wiele do powiedzenia). Poznał natychmiast, że choroba jest czysto nerwowa, przekonał chorego o tym, kazał mu jeść bez obawy, co zechce, ręcząc, że wszystko dobrze strawi. Ale mój kuzyn miał także chore nerki. Żołądek trawił jedzenie wybornie, ale nerki nie mogły wydzielać, i mój kuzyn, zamiast żyć długie lata z urojoną chorobą żołądka, która go zmuszała do przestrzegania diety, umarł koło czterdziestki z wyleczonym żołądkiem, ale ze zrujnowanymi nerkami. Wyprzedzając tak olbrzymio swoje własne życie, staniesz się pan może tym, czym mógłby być wybitny człowiek minionych czasów, gdyby jakiś dobroczynny geniusz odkrył mu zasady pary i elektryczności nieznanie wszystkim innym. Nie bądź pan głuptasem, nie odmawiaj przez delikatność. Zrozum pan, że jeżeli ja panu oddaję wielką przysługę, umiem w zamian ocenić tę, którą pan mi może oddać. Od dawna już ludzie mego świata przestali mnie interesować; mam już tylko jedną namiętność: starać się okupić błędy własnego życia, dzieląc się swymi skarbami z duszą jeszcze dziewiczą i zdolną do płomienia entuzjazmu. Miałem wielkie zgryzoty, drogi panie, opowiem je panu może kiedyś; straciłem żonę, istotę najszlachetniejszą, najpiękniejszą, najdoskonalszą, jaką można wymarzyć. Mam młodych krewnych, którzy nie są, nie powiem: godni, ale nie są zdolni przyjąć moralnego dziedzictwa, o którym panu mówię. Kto wie, czy nie pan jesteś człowiekiem, w którego ręce ono może przejść, człowiekiem, którego życiem będę mógł pokierować i wznieść je tak wysoko! Moje życie zyskałoby na tym. Może wtajemniczając pana w wielkie sprawy dyplomatyczne, odnalazłbym samego siebie i dokonałbym wreszcie niezwykłych rzeczy, w których pan miałbyś udział. Ale zanim się o tym zapewnię, musiałbym pana widywać często, bardzo często, co dzień.

Chciałem skorzystać z tych dobrych intencji pana de Charlus, aby go poprosić, czy by nie mógł ułatwić mi zbliżenia ze swoją bratową; ale w tej chwili jak gdyby elektryczny wstrząs skreślił mi ramię. To pan de Charlus wyrwał spiesznie spod niego rękę. Mimo iż, mówiąc do mnie, cały czas biegał wzrokiem we wszystkich kierunkach, w tej chwili dopiero ujrzał pana d'Argencourt, wychodzącego z poprzecznej ulicy. Na nasz widok pan d'Argencourt zachnął się lekko, objął mnie nieufnym spojrzeniem, niemal takim, jakim mierzy się osobnika innej rasy, jakie pani de Guermantes miała dla Blocha. Próbował nas minąć; ale zdawałoby się, iż pan de Charlus chce okazać, że się nie stara bynajmniej kryć przed nim, bo przywołał go, aby mu powiedzieć jakąś rzecz zupełnie błahą. Obawiając się może, że mnie pan d'Argencourt nie poznał, baron zakomunikował mu, że jestem wielkim przyjacielem pani de Villeparisis, księżnej de Guermantes, Roberta de Saint-Loup, że on sam, Charlus, jest starym przyjacielem mojej babki, szczęśliwym, iż może przenieść na wnuka trochę swojej dla niej sympatii. Mimo to zauważyłem, że pan d'Argencourt, któremu ledwo wymieniono moje nazwisko u pani de Villeparisis, a któremu pan de Charlus obszernie teraz opowiadał o mojej rodzinie, był dla mnie chłodniejszy niż przed godziną i zachował ten chłód przez długi czas, ilekroć mnie spotkał. Obserwował mnie z ciekawością wyzutą z cienia sympatii i zdawał się nawet pokonywać pewien opór, kiedy, żegnając nas, podał mi po chwili wahania rękę, cofając ją zresztą natychmiast.

— Żałuję tego spotkania — rzekł pan de Charlus. — Ten d'Argencourt, dobrze urodzony, ale źle wychowany, dyplomata mniej niż mierny, mąż opłakany, dziwkarz, intrygant jak z komedii, jest z rzędu ludzi niezdolnych zrozumieć, ale bardzo zdolnych zniszczyć rzeczy naprawdę wielkie. Mam nadzieję, że nasza przyjaźń, jeżeli ma się kiedyś ugruntować, będzie taką i mam nadzieję, że pan zrobi mi ten zaszczyt, aby ją, na równi ze mną, chronić od kopnięć osłów, którzy, przez próżniactwo, brak taktu, złość, depcą to, co zdawało się mieć szanse trwania. Na nieszczęście ludzie światowi są przeważnie z rzędu takich.

<sup>471</sup>historię owego człowieka, który wierzył, że ma zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stukła. [przypis edytorski]

— Księżna de Guermantes wydaje się bardzo inteligentna. Mówiliśmy przed chwilą o możliwości wojny. Zdaje się, że ona ma specjalne wiadomości w tej mierze.

— Nie ma żadnych — odparł pan de Charlus sucho. — Kobiety, jak wielu mężczyzn zresztą, nie rozumieją nic ze spraw, o których chciałem mówić. Moja bratowa jest uroczą istotką, która sobie wyobraża, że żyje jeszcze w czasach powieści Balzaca<sup>472</sup>, kiedy kobiety miały wpływ na politykę. Stosunki z nią mogłyby w danej chwili oddziaływać na pana jedynie ujemnie, jak zresztą wszelkie stosunki światowe. I to jest właśnie jedna z pierwszych rzeczy, które panu chciałem powiedzieć, kiedy mi ten głupiec przerwał. Pierwsza ofiara, jaką trzeba dla mnie zrobić — będę żądał od pana tyluż ofiar, ile panu przynoszę darów — to, aby się pan nie starał bywać w świecie. Cierpiałem przed chwilą, widząc pana na tym pociesnym zebraniu. Powie pan, że i ja tam byłem; ale dla mnie to nie jest zebranie światowe, to wizyta rodzinna. Później, kiedy pan dojdiesz do szczytu, o ile cię będzie bawiło zejść na chwilę w salony, nie będzie to już może niebezpieczne. I wówczas, nie potrzebuję panu mówić, jak bardzo będę ci mógł być użyteczny. Sezam pałacu Guermantes — i wszystkich tych, które są warte, aby ich wrota otworzyły się przed panem — ja mam w ręku. Ja będę o tym sądził i ja chcę decydować o tym, kiedy przyjdzie pora.

Chciałem skorzystać z tego, że pan de Charlus wspomniał wizytę u pani de Villeparisis, aby się dowiedzieć, kim jest, ściśle biorąc, ta margrabina, ale pytanie moje wypadło inaczej, niżbym chciał: zapytałem, co to jest rodzina Villeparisis.

— To zupełnie tak, jakby mnie pan spytał, co to jest rodzina Nic — odparł pan de Charlus. — Ciotka moja zaślubiła z miłości niejakiego pana Thirion, zresztą bardzo bogatego i którego siostry były bardzo dobrze zamężne; od tego czasu, nazwał się margrabią de Villeparisis. Nic to nikomu nie szkodziło, co najwyżej jemu samemu, i to bardzo niewiele! Co do racji tego przezwiska, nie wiem, przypuszczam, że to był w istocie pan z Villeparisis, jegomość urodzony w Villeparisis; pan wie, że to jest miejscowość pod Paryżem. Ciotka moja utrzymywała, że to margrabstwo było w rodzinie; chciała załatwić rzeczy prawidłowo, nie wiem czemu. Z chwilą kiedy się bierze nazwisko, do którego się nie ma prawa, lepiej jest nie bawić się w komedię legalności.

Pani de Villeparisis, będąca tylko panią Thirion, dopełniła upadku, jaki rozpoczęła w moim umyśle w chwili, gdy mój ujrzał mieszany skład jej salonu. Uważałem za niesprawiedliwe, aby kobieta, której nawet tytuł i nazwisko były zupełnie świeże, mogła mylić współczesnych — jak miała zmylić potomność — dzięki swoim monarszym stosunkom. Pani de Villeparisis stała się znów tym, czym mi się wydawała w dzieciństwie; osobą bez cienia czegoś arystokratycznego; owe dostojne krewieństwa, które ją otaczały, zdawały mi się całkowicie jej obce.

Zresztą margrabina nie przestała wciąż być dla nas czarująca. Odwiedzałem ją od czasu do czasu i często przysyłała mi jakiś upominek. Ale nigdy nie miałem wrażenia, aby ona była z Faubourg Saint-Germain, i gdybym miał szukać jakichś informacji co do tego świata, ona byłaby ostatnią osobą, do której bym się zwrócił.

— Obecnie — ciągnął pan de Charlus — bywając w świecie, szkodziłby pan jedynie sobie, pacząc swoją inteligencję i charakter. Zresztą musi pan czuwać nawet, a raczej *zwłaszcza*, nad swymi przyjaciółmi. Miej pan kochanki, jeśli twoja rodzina nie ma nic przeciwko temu; to mnie nie obchodzi; mogę cię tylko do tego zachęcać, młody urwisie, młody urwisie, który niedługo zaczniesz golić brodę — rzekł, dotykając mego podbródka. — Ale wybór męskich przyjaciół to inna sprawa. Na dziesięciu młodych ludzi ośmiu to są kanalie, łobuzy zdolne wyrządzić panu krzywdę, której nie odrobisz nigdy. Ot, mój siostrzeniec Saint-Loup to jest od biedy dobry koleżka dla pana. Z punktu widzenia pańskiej przyszłości nie przyda się panu na nic, ale ja tu wystarczę. A na to, aby panu dotrzymać towarzystwa, wówczas gdy będziesz miał mnie dosyć, na to, w sumie, wydaje mi się człowiekiem nieprzedstawiającym poważnych niebezpieczeństw, przynajmniej tak sądzę. To jest bodaj mężczyzna, a nie jeden z tych niewieściuchów, jakich spotyka się dziś tyłu; fałszywych braci zdolnych dziś lub jutro zaprowadzić może na rusztowanie swoją niewinną ofiarę.

<sup>472</sup>Balzac, *Honoré de* (1799–1850) — francuski prozaik okresu romantyzmu, nazywany „mistrzem realizmu”, autor monumentalnego cyklu powieściowego pt. *Komedia ludzka*. [przypis edytorski]



Nie bardzo rozumiałem sens gwarowego wyrażenia „falszywy brat”. Ten, co by je znał, byłby równie zdziwiony jak ja. Światowcy dosyć lubią mówić gwara, a ludzie, którym można zarzucić pewne rzeczy, lubią okazywać, że się o nich nie boją mówić. To stanowi w ich oczach dowód niewinności. Ale zatracili granicę, nie zdają już sobie sprawy ze stopnia, od którego począwszy, pewien żart robi się zbyt specjalny, zbyt rażący, stając się raczej dowodem zepsucia niż naiwności.

— On nie jest taki jak inni, jest bardzo miły, bardzo serio — dodał pan de Charlus.

Nie mogłem się wstrzymać od uśmiechu przy tym epitecie „serio”, któremu intencja pana de Charlus dawała znaczenie „cnotliwy”, „stateczny”, jak się mówi o młodej robotnicy, że jest „serio”. W tej chwili minął nas fiakier, jadący zygżakiem; młody woźnica, zląwszy z kozła, powoził z głębi dorożki, gdzie rozwalił się wpółpijany na siedzeniu. Pan de Charlus zatrzymał go żywo. Woźnica parlamentował chwilę.

— W którą stronę pan chce jechać?

— W twoją (zdziwiło mnie to, bo pan de Charlus już odmówił kilku fiakrom, mającym latarnie tego samego koloru).

— Ale mnie się nie chce siadać na kozioł. To panu nie przeszkadza, że ja zostanę w dorożce?

— Tak, tylko podnieś budę. Zatem, niech się pan zastanowi nad moimi propozycjami — rzekł pan de Charlus przed rozstaniem. — Daję panu kilka dni do namysłu, niech pan do mnie napisze. Powtarzam, będę pana musiał widywać co dzień i uzyskać od pana rękojmię lojalności, dyskrecji, które zresztą, muszę to przyznać, zdajesz się przedstawiać. Ale w ciągu mego życia tak często zwiodły mnie pozory, że nie chcę się już na nie spuszczać<sup>473</sup>. Do kroćset, to chyba najmniej, czego można żądać: zanim się powierzy skarb, wiedzieć, w jakie ręce się go oddaje! Słowem, niech pan pamięta, co ja panu ofiaruję. Jest pan jak Herkules, którego, nieszczęściem dla pana, nie zdajesz się mieć tęgiej muskulatury: Herkules na rozstaju dwóch dróg<sup>474</sup>. Staraj się pan nie musieć żałować całe życie, żeś nie obrał tej, która wiedzie do cnoty. Cóż to — rzekł baron do woźnicy — jeszcześ nie podniósł budy? Ja sam podniosę. Zdaje mi się zresztą, że i powozić będę musiał sam, zważywszy stan, w jakim się znajdujesz.

Wskoczył i usiadł obok woźnicy w głębi fiakra, który ruszył tęgim klusem.

Co do mnie, ledwie wróciwszy do domu, zastałem tam *pendant*<sup>475</sup> rozmowy, jaką wiedli dopiero co Bloch i pan de Norpois, ale w formie zwięzłej, odwróconej i okrutnej. Była to dyskusja pomiędzy naszym kamerdynerem, który był dreyfusistą, a kamerdynerem Guermantów — antydreyfusistą. Prawdy i kontrprawdy, które walczyły z sobą na wyżynach intelektualnych pod postacią Patrie Française oraz Ligi Praw Człowieka<sup>476</sup>, docierały zaiste aż do warstw ludu. Reinach grał na uczuciach ludzi, którzy go nigdy nie widzieli na oczy, podczas gdy dla niego samego sprawa Dreyfusa była jedynie nieodpartym teorematem, którego dowiódł w istocie w drodze największego sukcesu racjonalnej polityki (sukcesu smutnego dla Francji, powiedzą niektórzy), jaki kiedykolwiek widziano. W dwa lata zmienił gabinet Billota<sup>477</sup> na gabinet Clemenceau, zmienił do gruntu opinię publiczną, wydobył z więzienia Picquarta, aby go uczynić — niewdzięcznego — ministrem wojny. Może ten kierujący tłumami racjonalista sam kierował się swoim pochodzeniem. Jeżeli systemy filozoficzne zawierające najwięcej prawd poczynają się, w ostatecznej instancji, w umyśle swoich twórców z racji uczuciowych, jak przypuszczać, że w prostej sprawie politycznej, jak sprawa Dreyfusa, racje tego rodzaju nie mogłyby, bez wiedzy rozumującego, władać jego rozumem? Bloch sądził, iż logika podyktowała mu dreyfusizm,

<sup>473</sup> *spuszczać się na coś* (daw.) — polegać na czymś, zdawać się na coś. [przypis edytorski]

<sup>474</sup> *Herkules na rozstaju dwóch dróg* — staroż. grecka przypowieść etyczna o młodym herosie Heraklesie (rzym. Herkulesie), któremu na rozstaju dróg ukazały się dwie kobiety, Nieprawość i Cnota, nakłaniające do wyboru jednej z dwóch dróg życia i przedstawiające swoje argumenty: za życiem łatwym i przyjemnym oraz za pełnym trudów, ale chwalebny. [przypis edytorski]

<sup>475</sup> *pendant* (fr.) — uzupełnienie, dodatek. [przypis edytorski]

<sup>476</sup> *Liga Praw Człowieka* (fr. Droits de l'Homme) — francuskie stowarzyszenie zał. w 1898 w obronie kapitana Dreyfusa, także gazeta o tym tytule, wydawana w latach 1898–1900. [przypis edytorski]

<sup>477</sup> *Billot, Jean-Baptiste* (1828–1907) — francuski generał i polityk, minister wojny (1896–1898); dysponował niezbitymi dowodami niewinności Dreyfusa i celowo je ukrywał, co ujawnił Zola w swoim liście otwartym. [przypis edytorski]

choć wiedział, że jego nos, skóra i włosy są dziedzictwem rasy. Niewątpliwie, rozum jest swobodniejszy; podlega jednakże pewnym prawom, których sam nie wybrał.

Przypadek lokaja Guermantów i naszego był dość specjalny. Fale dwóch prądów, dreyfusizmu i antydreyfusizmu, które od góry do dołu dzieliły Francję, były dość milczące; ale nieliczne echa, jakim dawały początek, były szczere. Słyszając, jak ktoś wśród rozmowy, która chętnie unikała „Sprawy”, udziela mimochodem wiadomości politycznej, zazwyczaj fałszywej, ale zawsze upragnionej, można było z charakteru jego wróżby wnosić o kierunku jego pragnień. W ten sposób zderzały się na niektórych punktach z jednej strony nieśmiały apostołstwo, z drugiej święte oburzenie. Dwaj lokaje, których usłyszałem, wracając, stanowili wyjątek z tego prawidła. Nasz dał do zrozumienia, że Dreyfus jest winien; lokaj Guermantów — że jest niewinny. Nie czynili tego, aby ukryć swoje przekonania, ale przez złośliwość i zacietrzewienie. Nasz lokaj, niepewny, czy dojdzie do rewizji procesu, chciał z góry, w razie klęski, pozbawić lokaja Guermantów radości przeświadczenia, że dobra sprawa przegrała. Lokaj Guermantów myślał, że w razie odmowy rewizji większą przykrość sprawi naszemu lokajowi fakt, iż trzymają na Diabelskiej Wyspie niewinnego.

Wszedłszy, zastałem babkę bardziej cierpiącą. Od jakiegoś czasu, nie bardzo wiedząc, co jej jest, skarżyła się na zdrowie. Dopiero w chorobie zdajemy sobie sprawę, że żyjemy nie sami, ale zespoleni z istotą odmiennego gatunku, od której dzieli nas przepaść, która nas zna, a z którą niepodobna nam się porozumieć: nasze ciało. Bandytę spotkanego na drodze zdołalibyśmy może wzruszyć jego własną korzyścią, jeżeli nie naszym nieszczęściem. Ale błagać litości naszego ciała znaczy mówić do potwora morskiego, dla którego słowa nasze nie więcej mają znaczenia niż szmer wód i z którym współżycie wydałoby się nam czymś przerażającym. Niedyspozycje babki uchodziły jej uwagi, wciąż zwróconej ku nam. Kiedy zbyt od nich cierpiała, siliła się na próżno zrozumieć je, aby próbować je leczyć. O ile objawy chorobowe, których ciało babki było widowiskiem, pozostawały ciemne i nieuchwytnie dla jej inteligencji, były one jasne i zrozumiałe dla istot należących do tego samego fizycznego królestwa; istot, do których duch ludzki nauczył się wreszcie zwracać, aby zrozumieć to, co mu mówi jego ciało, tak jak słysząc mowę cudzoziemca, szukamy kogoś z tego samego kraju, iżby nam posłużył za tłumacza. Owe istoty mogą rozmawiać z naszym ciałem, oznajmić nam, czy jego gniew jest poważny, czy też rozproszy się niebawem. Cottard, którego wezwano do babki i który podrażnił nas, pytając w pierwszej chwili, kiedyśmy mu powiedzieli, że babka jest chora: „Chora? Ale to nie jest choroba dyplomatyczna?” — Cottard próbował dla uspokojenia chorej diety mlecznej. Ale wiekuiste zupki na mleku nie działały, ponieważ babka sypała do nich dużo soli (odkrycia Widala<sup>478</sup> jeszcze nie istniały), której szkód w owym czasie nie znano. Bo medycyna to jest kompendium kolejnych i sprzecznych błędów lekarzy, tak iż wzywając najlepszych, mamy wielką szansę odwoływania się do prawdy mającej być uznaną za fałsz w kilka lat później. Tak, iż wierzyć w medycynę byłoby szczytem szaleństwa, gdyby nie wierzyć w nią nie było jeszcze większym szaleństwem, bo z tego spiętrzenia błędów wyłaniają się z czasem pewne prawdy.

Cottard polecił zmierzyć temperaturę. Przyniesiono termometr. Na całej prawie przestrzeni rurka była próżna. Ledwo się dostrzeżęło srebrną salamandrę rtęci, przycupniętą na dnie naczynka. Zdawała się martwa. Umieszczono szklany pręcik w ustach babki. Nie potrzeba było trzymać go długo; mała wróżka nie długo ociągała się z horoskopem. Ujrzeliśmy ją nieruchomą, siedzącą w połowie swojej wieży i nie ruszającą się już; wskazywała dokładnie cyfrę, o którąśmy jej pytali, a której wszystkie refleksje, jakie by nad sobą czyniła dusza babki, nie zdołałyby stwierdzić: 38,3°. Pierwszy raz odczuliśmy pewien niepokój. Potrzebaliśmy silnie termometr, aby usunąć wróżebny znak, jak gdybyśmy mogli, wraz ze stopniem temperatury, obniżyć tym gorączkę. Niestety, jasne było, że mała, pozbawiona rozumu sybilla<sup>479</sup> nie udzieliła tej odpowiedzi dowolnie; bo nazajutrz, ledwo znów włożono babce do ust termometr, natychmiast, prawie jednym skokiem,

<sup>478</sup>Widal, Fernand (1862–1929) — francuski lekarz i bakteriolog, znany z prac nad chorobami nerek, szczepieniami i diagnostyką duru brzuszego. [przypis edytorski]

<sup>479</sup>Sybilla (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość; najbardziej znaną Sybillą była kapłanka wyroczni Apollina w Cumae, której przypisywano autorstwo ksiąg z przepowiedniami dotyczącymi losów Rzymu. [przypis edytorski]

Choroba

Lekarz, Nauka

mała prorokini, wspaniała pewnością i intuicją niewidzialnego dla nas faktu, zatrzymała się na tym samym punkcie, w nieubłaganym bezruchu, i ukazała nam lśniącem pręcikiem tę samą cyfrę<sup>480</sup>: 38,3°. Nie mówiła nic więcej, ale daremnie byśmy pragnęli, chcieli, prosili — pozostawała głucha, zdawało się, że to jest jej ostatnie, przestrożne i groźne słowo. Wówczas, próbując zmusić ją do zmiany odpowiedzi, zwróciliśmy się do innej istoty z tego samego królestwa, ale istoty potężniejszej, która nie ogranicza się do pytania ciała, lecz może mu rozkazywać: do środka przeciw gorączce, pokrewnego z nieużywaną jeszcze wówczas aspiryną. Nie strzepnęliśmy termometru poniżej 37,5° w nadziei, że w ten sposób słupek rtęci nie będzie się musiał podnosić. Podaliśmy babce preparat i założyliśmy znów termometr. Jak nieubłagany strażnik, gdy mu pokazać rozkaz wyższej władzy, do której znaleźliśmy protekcję, oświadczając, widząc rozkaz w porządku: „Wybornie, nie mam nic do powiedzenia, skoro tak, można przejść”, czujna strażniczka nie ruszyła się tym razem. Ale zdawała się mówić, chmurna: „Na co się wam to przyda? Skoro znacie chininę<sup>481</sup>, da mi rozkaz, abym się nie ruszała, raz, dziesięć, dwadzieścia razy. Ale wreszcie zmęczy się, ja ją znam, wierzcie. To nie będzie trwało wiecznie. I co wam to pomoże?”.

Wówczas babka odczuła w sobie obecność istoty znającej ciało ludzkie lepiej niż my sami, obecność społecznicy zaginionych ras, obecność pierwszego mieszkańca o wiele wcześniejszego niż istnienie myślącego człowieka; uczuła tego tysiącletniego sprzymierzeńca, który obmacywał, dość brutalnie nawet, jej głowę, serce, łokieć, rozpoznawał miejsca, organizował wszystko do tej przedhistorycznej walki, która nastąpiła tuż potem. W jednej chwili zwyciężył gorączkę, niby zmiażdżonego Pytona<sup>482</sup>, potężny czynnik chemiczny, któremu babka, idąc poprzez królestwa, poprzez wszystkie zwierzęta i rośliny, chciałaby móc podziękować. I była do głębi wzruszona spotkaniem, jakie jej było dane, poprzez tyle wieków, z klimatem zgoła wcześniejszym od istnienia roślin. Ze swojej strony termometr, niby Parka<sup>483</sup> zwyciężona na chwilę przez starszego boga, trzymał nieruchomo swoje srebrne wrzeciono. Niestety inne niższe istoty, ułożone przez człowieka do polowania na ową tajemniczą zwierzyne, której nie może ścigać w głębi samego siebie, okrutnie zwiastowały nam co dnia cyfrę białka, słabą, ale na tyle stałą, aby się również można było domyślić związku z jakimś trwałym stanem, któregośmy nie dostrzegali. Swego czasu Bergotte uraził we mnie nieomylny instynkt zmuszający do milczenia moją inteligencję, mówiąc o doktorze du Boulbon jako o lekarzu, który mnie nie znudzi, który znajdzie metody, choćby na pozór dziwaczne, ale dostosowane do odrębności mego intelektu. Ale pojęcia przeobrażają się w nas, pokonują opór, jaki im zrazu stawiamy, i czerpią soki z gotowych już bogatych zasobów intelektualnych, o których nie wiedzieliśmy, że są dla nich przeznaczone. I jak się dzieje zawsze, gdy zasłyszane słowa dotyczące kogoś, kogo nie znamy, zdołały w nas obudzić pojęcie wielkiego talentu, niemal geniuszu, obecnie darzyłem w myśli doktora du Boulbon owym bezgranicznym zaufaniem, jakie w nas budzi ktoś, kto głębszym od innych okiem przenika prawdę. Wiedziałem niewątpliwie, że on jest raczej specjalistą chorób nerwowych, tym, któremu Charcot<sup>484</sup> przepowiedział przed śmiercią, iż będzie królem neurologii i psychiatrii. „A, nie wiem, to bardzo możliwe” — rzekła obecna przy tym Franciszka, która pierwszy raz słyszała nazwiska Charcot i du Boulbon. Ale to jej zgoła nie przeszkadzało mówić: „To możliwe”. Te jej „możliwe”, jej „może może”, „nie wiem” doprowadzały mnie w takich sytuacjach do rozpacz. Miało się ochotę odpowiedzieć jej: „Rozumie się, że nie wiesz, skoro nie masz pojęcia o rzeczy, o którą chodzi; jak możesz mówić, czy to możliwe, czy nie, nie wiesz nic o tym! W każdym razie teraz nie możesz mówić, że nie wiesz, co Charcot powiedział doktorowi du Boulbon itd.; wiesz, bośmy ci powiedzieli, a twoje »może, może« i twoje »możliwe« nie są na miejscu, skoro to jest pewne”.

<sup>480</sup>cyfrę (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

<sup>481</sup>chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

<sup>482</sup>Pyton (mit. gr.) — olbrzymi wąż, syn Gai, strażnik wyroczni w Delfach, zabity przez Apollina, który następnie objął w posiadanie wyrocznię i ustanowił ośrodek swojego kultu. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>Parka (mit. rzym.) — jedna z trzech bogiń przedających i przycinających nić ludzkiego losu; w mit. gr. ich odpowiednikami były Mojry. [przypis edytorski]

<sup>484</sup>Charcot, Jean-Martin (1825–1893) — francuski lekarz neurolog, twórca nowoczesnej neurologii. [przypis edytorski]

Mimo iż du Boulbon był raczej specjalistą mózgu i układu nerwowego, wiedząc, że to jest wielki lekarz, niepospolity człowiek o twórczej i głębokiej inteligencji, błagałem matkę, aby go sprowadziła; nadzieja, iż dzięki trafnej diagnozie uleczy może babkę, przeżyła w końcu naszą obawę, iż fakt konsylium może ją przerazić. Zdecydowało matkę to, że babka, utwierdzona w tym pośrednio przez Cottarda, nie wychodziła już i prawie nie wstawała. Próżno odpowiadała nam listem pani de Sévigné<sup>485</sup> o pani de la Fayette: „Nazywano ją wariatką, że nie chce wychodzić. Mówiłam tym osobom tak nagłym w swoich sądach: »Pani de la Fayette nie jest wariatką«, i obstawałam przy tym. Musiała dopiero umrzeć, aby dowieść, jak słusznie wzbraniała się wychodzić”.

Wezwany, doktor du Boulbon potępił, jeżeli nie panią de Sévigné, której mu nie cytowano, to przynajmniej babkę. Zamiast ją auskultować<sup>486</sup>, zwrócił na nią swoje wspaniałe oczy, w których kryło się może złudzenie, że przenika do głębi chorą, lub chęć wiania w nią tej iluzji — chęć rozmyślna, ale mająca robić wrażenie machinalnej — lub zamiar niezdradzenia przed chorą, że myśli całkiem o czym innym, lub wreszcie zyskania władzy nad nią. Doktor skierował rozmowę na Bergotte’a.

— A, bardzo wierzę, droga pani, to jest cudowne; jakże pani ma rację, że pani kocha jego książki! Ale którą pani woli? A, doprawdy! Mój Boże, istotnie, to może najlepsza. W każdym razie najlepiej skomponowana; Klara jest urocza; a z mężczyzną, który jest pani najsympatyczniejszy?

Myślałem zrazu, że on tak ściągą rozmowę na literaturę, bo go medycyna nudzi, może też, aby okazać szerokość swego umysłu, a nawet — w bardziej terapeutycznym celu — aby wrócić chorej otuchę, okazać, że nie jest niespokojny, oderwać ją od jej stanu. Ale później zrozumiałem, że du Boulbon, głośny zwłaszcza jako psychiatra i sławny ze studiów nad mózgiem, chciał sobie przez te pytania zdać sprawę ze stanu pamięci u babki. Prawie niechętnie, z chmurnym i martwym wzrokiem, doktor wypytywał ją po trosze o jej życie. I naraz, jak gdyby dostrzegając prawdę i pragnąc jej dosięgnąć za wszelką cenę, z uprzednim gestem, który jakby z trudem otrząsał się z ostatnich wahań i z naszych możebnych zarzutów, patrząc na babkę jasnym okiem, rzekł swobodnie i tak jakby nareszcie znalazł się na stałym lądzie, punktując łagodnym i ujmującym tonem słowa, których odcienie łagodziła i cieniowała inteligencja. (Zresztą przez cały czas tej wizyty głos jego zachował swoją naturalną słodycz, a pod krzaczastymi brwiami ironiczne oczy doktora pełne były dobroci).

— Będzie pani zdrowa w dalekim lub bliskim dniu — a od pani jedynie zależy, aby to było choćby dziś — kiedy pani zrozumie, że nic pani nie jest i kiedy pani wróci do zwykłego życia. Mówiono mi, że pani nie je, nie wychodzi.

— Ale, panie doktorze, ja mam trochę gorączki.

Sprawdził ręką.

— Nie w tej chwili przynajmniej. A przy tym, to ładna wymówka! Czy pani nie wie, że my trzymamy na świeżym powietrzu, że przekarmiamy gruźlików mających do trzydziestu dziewięciu stopni?

— Ale ja mam także trochę białka.

— Nie powinna pani o tym wiedzieć. Ma pani to, co ja opisałem pod nazwą „albuminurii psychicznej”. Każdy z nas miał w trakcie jakiejś niedyspozycji porcję białka, które lekarz co żywo utrwał przez to, że zwrócił nam na nie uwagę. Na jedną chorobę, którą lekarze leczą swymi medykamentami (twierdzą przynajmniej, że im się to zdarza czasem), wywołują sami dziesięć chorób u osób zdrowych, zaszczepiając im ten czynnik chorobotwórczy, tysiąc razy jadowitszy od wszystkich mikrobów, mianowicie myśl, że się jest chorym. Takie przeświadczenie, potężnie działające na naturę każdego z nas, jest szczególnie groźne u nerwowców. Powiedzcie im, że okno, w istocie zamknięte, otwarte jest za ich plecami, zaczną kichać; kaźcie im uwierzyć, że im wysypano magnezy do zupy, dostaną biegunki; powiedzcie im, że kawa była mocniejsza niż zwykle, nie zmrzną oka całą noc. Czy pani myśli, że nie wystarczyło mi zobaczyć pani oczy, usłyszeć sposób mówienia, co mówię, ujrzeć pani córkę i wnuka, który jest do pani tak podobny, aby zgadnąć, z kim mam do czynienia?

<sup>485</sup>pani de Sévigné, właśc. *Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné* (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

<sup>486</sup>auskultować (med.) — osłuchiwać. [przypis edytorski]

— Słuchaj, babcia mogłaby może usiąść, skoro pan doktor pozwala, w jakiej spokojnej alei na Polach Elizejskich, koło tego klombu, gdzieś się bawił niegdyś — rzekła matka, radząc się w ten sposób pośrednio doktora du Boulbon, przy czym głos jej miał coś nieśmiałego i uległego, czego by nie miał, gdyby się zwracała tylko do mnie.

Doktor obrócił się do babki, że zaś był równie wykształcony, jak uczoney, rzekł:

— Niech pani idzie na Pola Elizejskie, usiąść koło owego laurowego klombu drogiego wnukowi pani. Laur przyniesie pani zdrowie. Oczyszcza. Zgładziwszy węża Pytona, Apollo wszedł uroczyście do Delf z gałązką lauru w ręce. Chciał się tym ubezpieczyć od zarazków jadowitego zwierzęcia. Widzi pani, że laur jest najstarszym, najczcigodniejszym i, dodam — co ma swoją wartość w terapii, jak i w profilaktyce — najpiękniejszym z antyseptyków.

Ponieważ lekarze większej części tego, co wiedzą, uczą się od chorych, skłonni są wierzyć, że ta wiedza pacjentów jednaka jest u wszystkich i spodziewają się zdumieć chorego jakimś spostrzeżeniem nabytym od innych chorych. Toteż, przybierając subtelny uśmiech paryżanina, który, rozmawiając z wieśniakiem, myśli go zdumieć zwrotem z jego gwary, doktor du Boulbon rzekł:

— Prawdopodobnie okresy wiatru przynoszą pani sen, którego by nie zdołały spowodzić najsilniejsze środki nasenne.

— Przeciwnie, panie doktorze, wiatr odbiera mi sen całkowicie.

Ale lekarze są drażliwi: „Hum!” — mruknął du Boulbon, marszcząc brwi, tak jakby mu ktoś nastąpił na nogę i jakby bezsenność babki podczas burzy była dlań obrazą osobistą. Ale nie był przesadnie ambitny; ponieważ, jako umysł wyższy, uważał za swój obowiązek nie wierzyć w medycynę, szybko odzyskał filozoficzną pogodę.

Matka moja, w gorącej chęci znalezienia pociechy u przyjaciela Bergotte’a, dodała na poparcie słów doktora, że kuzynka babki, cierpiąca na nerwy, spędziła siedem lat zamknięta w swojej sypialni w Combray, wstając nie częściej niż raz lub dwa na tydzień.

— Widzi pani, ja nie wiedziałem o tym, a byłbym mógł to pani powiedzieć.

— Ale, panie doktorze, ja mam naturę wręcz odmienną; przeciwnie, zwykle lekarz nie może mnie utrzymać w łóżku — rzekła babka, czy że ją nieco drażniły teorie doktora, czy też pragnąc wyczerpać wszelkie możliwe zarzuty w nadziei, że lekarz je odeprze i że odchodząc, nie zostawi jej już żadnej wątpliwości co do swojej szczęśliwej diagnozy.

— Ależ oczywiście, pani; nie można mieć, niech mi pani daruje wyrażenie, wszystkich fiołów; nie ma pani tego, ma pani inne. Wczoraj zwiedzałem sanatorium dla neurasteników. W ogrodzie stał na ławce jakiś człowiek, nieruchomy jak fakir, z szyją zgiętą w sposób najwyraźniej bardzo uciążliwy. Kiedy go spytałem, co on tam robi, odpowiedział bez najlżejszego gestu, nie odwracając głowy: „Panie doktorze, mam wielką skłonność do reumatyzmu i do kataru; za wiele używałem ruchu i będąc spocony, dotknąłem szyją flanelowego kaftanika. Gdybym teraz wychylił szyję, nie dawszy jej wyparować, jestem pewien, że skończyłoby się zawianiem, a może i bronchitem<sup>487</sup>”. I z pewnością byłoby tak! „Z pana jest ładny neurastenik, tyle panu powiem”, rzekłem. Czy pani wie, co on powiedział, aby mi dowieść, że nie? To, że gdy wszyscy chorzy w zakładzie mają manię ważenia się (tak że musiano zamknąć wagę na kłódkę, aby się przez cały dzień nie ważyli), jego trzeba było przemocą pędzić do wagi, tak dalece nie miał na to ochoty. Był dumny, że nie ma tej manii co drudzy, nie pamiętając, że ma swoją własną i że to ona chroni go od tamtej. Niech pani moje porównanie nie uraża, bo ów człowiek, który bał się poruszyć szyją, aby się nie zaziębić, jest największym poetą naszych czasów. Ten biedny maniak to najwyższa inteligencja, jaką znam. Niech pani raczy pozwolić, że panią nazwę neurasteniczką. Należy pani do tej wspaniałej i żalostnej rodziny, która jest solą ziemi. Wszystko, co znamy wielkiego, zawdzięczamy nerwowcom. To oni, a nie inni, poczuli religie i stworzyli arcydzieła. Nigdy świat się nie dowie, ile im zawdzięcza, a zwłaszcza ile oni wycierpieli, aby to dać światu. Sycimy się ich boską muzyką, ich pięknymi obrazami, tysiącem subtelności, ale nie wiemy, ile one kosztowały bezsennych nocy, płaczów, spazmatycznego śmiechu, pokrzywek, astmy, epilepsji, lęku przed śmiercią, który jest gorszy niż to wszystko i który pani może zna — dodał, uśmiechając się do babki — bo przyzna pani, kiedy tu wszedłem, nie była pani zbyt spokojna. Myślała pani, że pani

<sup>487</sup>bronchit — zapalenie oskrzeli. [przypis edytorski]

jest chora, może niebezpiecznie chora. Bóg wie, jakich chorób objawy odnajdywała pani w sobie. I nie myliła się pani, miała je pani. Neurastenia jest genialnym transformistą. Nie ma choroby, której by nie udała znakomicie. Naśladuje do złudzenia rozstrzeń żołądka dyspeptyków, nudności ciężarnych, arytmie chorych na serce, gorączkę gruźlików. Zdolna oszukać lekarza, jakże nie miałaby oszukać chorego? Och, niech pani nie sądzi, że ja żartuję z pani cierpień; nie miałbym prawa ich leczyć, gdybym ich nie umiał zrozumieć. I niech mnie pani posłucha; skuteczna spowiedź powinna być wzajemna. Powiedziałem pani, że bez nerwowej choroby nie ma wielkiego artysty; co więcej — dodał, podnosząc poważnie palec — nie ma wielkiego uczonego. Dodam, że bez nerwowej choroby, na którą sam cierpi, nie ma, nie chcę powiedzieć: dobrego lekarza w ogóle, ale przyzwolę tego lekarza chorób nerwowych. W patologii nerwowej lekarzem, który nie mówi zbyt wiele osielstw, może być tylko na wpół wyleczony chory, tak jak krytyk to jest poeta, który przestał pisać wiersze, agent policji to złodziej, który porzucił swoje rzemiosło. Ja, droga pani, nie trapię się, jak pani, o swoje białko, nie mam nerwowego lęku przed jedzeniem i powietrzem, ale za to nie mogę usnąć bez wstawania po dwadzieścia razy i bez sprawdzania, czy drzwi są zamknięte. I w sanatorium, gdzie zastał wczoraj poetę nieporuszającego szyją, byłem właśnie po to, aby zamówić dla siebie pokój, bo, mówiąc między nami, obracam tam swój urlop na kurację, kiedy, zmęczony się leczeniem cudzych chorób, zbyttnio zaniedbam własne.

— Ależ, panie doktorze, czy i ja powinnam odbyć taką kurację? — spytała babka z przestachem.

— Zbyteczne, droga pani. Objawy, które panią trapią, ustąpią przed moim słowem. A przy tym pani ma przy sobie kogoś bardzo potężnego, którego od tej chwili mianuję jej lekarzem. To pani choroba, pani nadmierna pobudliwość nerwowa. Znalbym sposób uleczenia z niej pani, ale ani mi to w głowie! Wystarczy mi ją ująć w ręce. Widzę na pani biurku książkę Bergotte'a: gdybym panią uleczył z jej newrozy, przestałaby już pani lubić tego pisarza. Otóż, czyż ja czułbym się w prawie zamienienia rozkoszy, jakie on przynosi, na zdrowe nerwy, niezdolne dać pani podobnych wrażeń. Ależ same te rozkosze to jest potężne lekarstwo, może najpotężniejsze! Nie, ja nie chcę uszczuplać pani aktywności nerwowej. Żądam od niej tylko, aby mnie słuchała; powierzam jej panią. Niech da kontrparę! Siłę, którą wkładała w to, aby się pani nie dać przechadzać i odżywiać dostatecznie, niechaj obróci na to, aby pani kazać jeść, czytać, chodzić na spacer, rozrywać się na wszelki sposób. Niech mi pani nie mówi, że pani jest zmęczona. Zmęczenie to jest organiczne ziszczenie z góry istniejącej myśli. Niech pani zacznie od tego, aby tę myśl oddalić. A jeżeli się zdarzy jakaś mała niedyspozycja — co się może zdarzyć każdemu — będzie to rzecz bez znaczenia, bo owa siła robi z pani, wedle głębokiego wyrażenia Talleyranda, „zdrowego z urojenia”. O, już zaczęła panią leczyć, słucha mnie pani wyprostowana, nie oparłszy się ani razu, oko żywe, mina tęga, i to już trwa dobre pół godziny, a pani się nie spostrzegła na tym. Mam zaszczyt pożegnać panią.

Kiedy, odprowadziwszy doktora du Boulbon, wróciłem do pokoju, gdzie matka siedziała sama, dławiąca mnie od kilku tygodni zgryzota uleciała; czułem, że matka wybuchnie radością i ujrzy moją radość; odczuwałem owo otepienie, z jakim oczekujemy najbliższej chwili, kiedy obok nas jakaś osoba podda się wzruszeniu; otepienie, w innej kategorii wrażeń będące jak gdyby lękiem, jakiego doznajemy, kiedy wiemy, że ktoś wejdzie, aby nas przestraszyć przez drzwi dotąd jeszcze zamknięte. Chciałem coś rzec, ale głos mi się załamał; zalewając się łzami, trwałem długo z głową na jej ramieniu, płacząc, przyjmując i kochając boleść, smakując ją teraz, kiedy wiedziałem, że opuściła moje życie, tak jak lubimy się upajać cnotliwymi projektami, których okoliczności nie pozwalają nam urzeczywistnić.

Franciszka podrażniła mnie swoim brakiem udziału w naszej radości. Była mocno wzruszona, bo doszło do straszliwej sceny między lokajem a odźwiernym-donosicielem. Trzeba było, aby księżna w swojej dobroci wdała się w sprawę, aby przywróciła pozór zgody i przebaczyła lokajowi. Bo księżna była dobra i miejsce u niej byłoby idealne, gdyby nie słuchała „gadań”.

Już od kilku dni wiedziano, że babka jest chora, i dopytywano się o jej stan. Saint-Loup pisał do mnie: „Nie chcę korzystać z godzin, kiedy twoja droga babka jest cierpiąca, aby ci czynić wymówki — i o wiele więcej niż wymówki — bez związku z jej

osobą. Ale skłamałbym, gdybym ci powiedział, że ci nigdy nie zapomnę perfidii twojego postępowania i że nie zdołam przebaczyć twojej nieszczerości i zdrady”. Ale przyjaciele moi, przypuszczając, iż babka nie jest zbyt cierpiąca (nie widziano nawet, że jest w ogóle chora), prosili mnie, aby się z nimi spotkać nazajutrz na Polach Elizejskich; mieliśmy wspólnie zrobić jakąś wizytę i pojechać na wieś na obiad, na który się cieszyłem. Nie miałem już powodu wyrzekać się tych przyjemności. Kiedy się mówiło babce, że powinna by teraz, w myśl zaleceń doktora du Boulbon, chodzić dużo na spacer, widzieliśmy, że zaraz wspomniała Pola Elizejskie. Mógłbym ją tam zawieźć; podczas gdy będzie sobie siedziała i czytała, ja umówię z przyjaciółmi miejsce spotkania i na dobrą sprawę będę miał jeszcze czas dopaść z nimi kolejki do Ville-d’Avray<sup>488</sup>.

Gdy nadszedł czas, babka nie chciała wyjść, czuła się zmęczona. Ale matka, wymuszona przez doktora du Boulbon, zdobyła się na tę energię, aby się pogniewać i wymusić posłuszeństwo. Mama omal nie płakała na myśl, że babka znów może popaść w swoją nerwową prostrację<sup>489</sup> i że się już z niej nie podniesie. Niepodobna było wymarzyć piękniejszej pogody na przechadzkę. Słońce, zmieniając miejsce, rozpościerało to tu, to tam, niweczając kontur balkonu, swoje wiotkie muśliny i przydawało kamieniowi jakby ciepły naskórek, nieuchwytną złotą otoczkę. Ponieważ Franciszka nie miała czasu przesłać „pneumatyka”<sup>490</sup> córce, opuściła nas zaraz po śniadaniu. To już było bardzo pięknie z jej strony, że przedtem wstąpiła do Jupiena dla zaszczytu mantylki, którą babka miała włożyć. Wracając właśnie w tej chwili z rannego spaceru, wstąpiłem z nią do krawca. „Czy to młody pan przyprowadza tu panią Franciszkę — rzekł do Franciszki Jupien — czy też pani przyprowadza młodego pana, czy też jakiś szczęśny los sprowadza was oboje?”. Mimo że Jupien nie skończył szkół, przestrzegał równie naturalnie składni, jak mimo wielu wysiłków gwałcił ją pan de Guermantes. Skoro Franciszka wróciła z naprawioną mantylką, trzeba było babce się ubrać. Oddaliwszy z uporem pomoc matki, babka ubierała się sama straszliwie długo. Dziwna jest ta nasza obojętność dla naszych najbliższych, dopóki żyją; można by rzec, że są dla nas na ostatnim miejscu, po wszystkich! Teraz, kiedym wiedział, że babka jest zdrowa, uważałem ją za bardzo samolubną, że się tak guzdra, skoro wie, że ja się umówiłem z przyjaciółmi i że mam jechać do Ville-d’Avray. Skoro mi powiedziano dwa razy, że zaraz będzie gotowa, zniecierpliwiony, sam zeszedłem na dół. Wreszcie nadeszła, nie przepraszając mnie za opóźnienie, jak to robiła zazwyczaj w takich razach; czerwona i roztargniona jak osoba, która się spieszy i która zapomniała połowę swoich rzeczy, nadeszła, kiedym dochodził do uchylonych szklanych drzwi, które, nie ogrzewając tym ani trochę sieni, wpuszczały z zewnątrz płynne, gwarne i ciepłe powietrze, tak jakby ktoś otworzył zbiornik pośród lodowatych ścian domu.

— Mój Boże, skoro ty masz spotkać przyjaciół, powinnam była włożyć inną mantylkę. Ta trochę smutno wygląda.

Uderzyło mnie, że babka była jakby skongestionowana<sup>491</sup>; pojąłem iż, zapóźniwszy się, musiała się bardzo spieszyć. Kiedyśmy wysiedli z fiakra na Polach Elizejskich koło avenue Gabriel, ujrzałem, że babka, nic do mnie nie mówiąc, zwraca się i kieruje do starego, obrosłego zielenią domku, gdzie swego czasu czekałem raz na Franciszkę. Ten sam strażnik, który się tam znajdował wówczas, siedział jeszcze obok „markizy”, kiedy idąc za babką, która musiała mieć nudności, bo zasłaniała usta ręką, przebyłem stopnie tego sielskiego teatrzyku, wznoszącego się pośród ogrodów. U wejścia, niby w owych jarmarcznych budach, gdzie klaun, gotów do wejścia na scenę i umazany mąką, sam odbiera należność za miejsca, „markiza” wysiadawała stale ze swoją ogromną i brzydką, grubo uszmiokowaną gębą, w kapelusiku strojnym w czerwone kwiaty i czarną koronkę, zasadzonym na rudą perukę. Ale nie sądzę, aby mnie poznała. Strażnik, zaniedbując dozór zieleni, do której dostrojono barwę jego uniformu, rozmawiał z nią, siedząc obok.

— Zatem — rzekł — pani jest wciąż tutaj. Nie myśli pani wycofać się z interesu?

— Dlaczego, po co, kochany panie. Niech pan sam powie: gdzie byłoby mi lepiej niż tutaj, gdzie miałabym większe wygody i komfort? A przy tym jest ruch, rozrywka; to istny

<sup>488</sup> Ville-d’Avray — miejscowość we Francji, na zach. przedmieściach Paryża. [przypis edytorski]

<sup>489</sup> prostracja — skrajne wyczerpanie nerwowo-psychiczne. [przypis edytorski]

<sup>490</sup> pneumatyk — list wysłany pocztą pneumatyczną, za pomocą rur poprzez wykorzystanie sprężonego powietrza; system poczty pneumatycznej istniał w Paryżu od 1866 aż do 1984. [przypis edytorski]

<sup>491</sup> skongestionowany (neol., z fr.) — przekrwiony. [przypis edytorski]

mały Paryż; przez klientów wiem wszystko, co się dzieje. Ot, proszę pana, ten, co wyszedł stąd może pięć minut temu, to urzędowa osoba, wysoka, bardzo wysoka! I co, proszę pana — wykrzyknęła z zapalem, jakby gotowa poprzeć to twierdzenie siłą, w razie gdyby stróż porządku powątpiewał o jego ścisłości — od ośmiu lat, rozumie pan, w każdy dzień, jaki Pan Bóg stworzył, punktualnie z uderzeniem trzeciej, jest tutaj, zawsze grzeczny, nigdy nie podniesie głosu, nic nie powala i siedzi dłużej niż pół godziny, aby przeczytać gazetę, załatwiając swoje. Jednego jedynego dnia nie przyszedł. Na razie nie spostrzegłam się; ale naraz wieczorem powiedziałam sobie: „O, ten mój gość nie przyszedł, może umarł”. To mnie trochę pikło w serce, bo ja się przywiązuję do ludzi, kiedy są na swoim miejscu. Toteż byłam bardzo kontenta, ujrawszy go na drugi dzień; zagadałam go: „Dzień dobry panu, a co, czy nic się panu nie zdarzyło wczoraj?”. Odpowiedział, że jemu się nic nie zdarzyło, ale że żona mu umarła, i taki był poruszony, że nie mógł przyjść. Miał minę smutną, i co się dziwić, rozumie pan, żyli z sobą od dwudziestu pięciu lat; ale i tak wydawał się kontent, że znów tu jest. Czuło się, że ten wypadek zakłócił jego przyzwyczajenia. Staralam się go pocieszyć, rzekłam: „Nie trzeba się poddawać. Niech pan przychodzi jak zawsze; w pańskim zmartwieniu zawsze to mała dystrakcja”.

Głos „markizy” złagodniał, bo stwierdziła, że opiekun grządek i klombów słuchał jej przyjaźnie, nie myśląc się sprzeciwiać, siedząc ze swoją niewinną szpadą w pochwie, robiącą wrażenie raczej jakiegoś ogrodniczego narzędzia lub rolniczego symbolu.

— A przy tym — rzekła — ja wybieram swoich klejentów, nie każdego wpuszczam do moich salonów. Bo ja to tak nazywam. Czy to nie istny salon z tymi kwiatami? Że mam klejentów bardzo grzecznych, to ten, to ów przyniesie mi ładną gałązkę bzu, jaśminu albo mój ulubiony kwiat — różę.

Myśl, żeśmy się może zgubili w oczach tej damy, nie przynosząc jej nigdy bzu ani róż, przypawiła mnie o rumieniec; aby fizycznie uniknąć jej ujemnego sądu lub być osądzonym jedynie zaocznie, skierowałam się ku wyjściu. Ale w życiu nie zawsze najuprzejmiejsze przyjęcie spotyka tych, co przynoszą piękne róże, bo „markiza”, przypuszczając, że się nudzę, zwróciła się do mnie:

— Chce pan, żebym panu otworzyła gabinecik?

A kiedy odmówiłem:

— Naprawdę, nie chce pan? — dodała z uśmiechem. — Myślałam to z dobrego serca, ale wiem, że są potrzeby, dla których obudzenia nie wystarczy ofiarować je gratis.

W tej chwili szybko weszła lichy ubrana kobieta, najwyraźniej w nagłym położeniu. Ale widać nie należała do świata „markizy”, bo ta z całym okrucieństwem snoba rzekła sucho:

— Wszystko zajęte.

— Czy długo? — spytała biedna dama, czerwona przy swoich żółtych kwiatkach.

— A, moja pani, radzę pani iść gdzie indziej, bo widzi pani, jeszcze dwóch panów tutaj czeka, a mam tylko jeden gabinet, wszystkie inne są w reparacji... Wygląda mi to na lichą klejentele — rzekła „markiza”. — To coś nie dla mnie, nie zna to czystości, nie zna szacunku, trzeba by mi potem godzinę szorować po takiej damuli. Nie żałuję jej dwóch sou<sup>492</sup>.

W końcu babka wyszła. Bojąc się, że się nie postara napiwkami zatrzeć niedelikatności, jaką okazała, siedząc tak długo, ulotniłem się, aby nie mieć udziału w porcji wzgardy, jaką z pewnością okaże babce „markiza”. Szedłem ścieżką, ale powoli, aby babka mogła mnie łatwo dogonić i iść dalej ze mną. Co się też stało niebawem. Myślałem, że babka mi powie: „Dałam ci długo czekać na siebie; mam nadzieję, że jeszcze złapiesz swoich przyjaciół”. Ale nie rzekła ani słowa; tak iż, trochę zawiedziony, nie chciałem się odezwać do niej pierwszy. W końcu, spojrzawszy na nią, zauważyłem, że idąc koło mnie, obraca głowę w drugą stronę. Bałem się, że znów ma nudności. Przyjrzałem się lepiej, uderzył mnie jej nierówny chód. Kapeluszy miała przekrzywiony, płaszcz powalany, wydawała się zmieszana i niezadowolona; miała czerwoną i wzruszoną twarz osoby, którą dopiero co potrafił powóz lub którą wydobyto z rowu.

— Bałem się, czy nie miałaś nudności, babciu; czy czujesz się lepiej? — spytałem.

<sup>492</sup> sou — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]



Pomyślała z pewnością, że nie sposób nie odpowiedzieć bez obudzenia mego niepokoju.

— Słyszałam całą rozmowę między „markizą” a strażnikiem — rzekła. — To był kompletny styl Guermites i „paczki” Verdurinów. Mój Boże! jakież oni mieli dworny ton!

I dodała jeszcze z naciskiem, cytując słowa swojej markizy, pani de Sévigné: „Słuchając ich, pomyślałam, że mi gotują rozkosze pożegnania”.

Takie były jej słowa, w które włożyła całą swoją finezję, swoje upodobanie w cytatach, znawstwo klasyków, trochę więcej nawet, niż to robiła zazwyczaj, jakby dla okazania, że włada tym wszystkim. Ale raczej odgadłem, niż usłyszałem te słowa, które babka wymówiła chrapliwym głosem, ściskając zęby bardziej, niżby to mogła tłumaczyć obawa wymiotów.

— Babciu — rzekłem dość lekko, aby się nie zdawało, że zbyt serio biorę jej niedyspozycję — skoro się czujesz nieszczęśliwie, wracajmy do domu, jeżeli pozwolisz. Nie będę oprowadzał po Polach Elizejskich babci, która ma nudności.

— Nie śmiałam ci tego proponować z powodu twoich projektów — odparła. — Biedny mały! Ale skoro sam chcesz, to będzie w istocie rozsądniej.

Bąłem się, aby babka nie zauważyła trudności, z jaką wymawia te słowa.

— No — rzekłem szorstko — nie męcz się mówieniem; skoro ci jest niedobrze, to nie ma sensu, zaczekaj choć, aż wrócimy.

Uśmiechnęła się smutno i ścisnęła mi rękę. Zrozumiała, że nie ma co ukrywać przede mną tego, com odgadł zaraz: że miała przed chwilą mały atak.

## *Strona Guermites*

# CZĘŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Choroba babki. Choroba Bergotte'a. Księżę i lekarz. Ostatnie chwile babki i jej śmierć.*

Przebyliśmy avenue Gabriel w tłumie przechodniów. Posadziłem babkę na ławce i poszedłem po fiakra. Ona, w której serce wnikałem zawsze, aby osądzić najmniej znaczącą osobę, była teraz dla mnie zamknięta, stała się częścią zewnętrznego świata. Bardziej niż przed lada przechodniem musiałem tać przed nią to, co myślę o jej stanie, tać przed nią swój niepokój. Nie mogłbym z nią mówić o tym szczerzej niż z obcą osobą. Zwróciła mi oto myśli, zgrzyzoty, które od czasu dzieciństwa powierzyłem jej na zawsze. Nie umarła jeszcze. Byłem już sam. I nawet te aluzje, jakie robiła do Guermantów, do Moliera, do naszych rozmów o „paczce” Verdurinów, zdawały się czymś bez oparcia, bez przyczyny, czymś fantastycznym, bo wychodziły z nicości tego samego jestestwa, które — jutro może — nie miało już istnieć, dla którego słowa te nie będą już miały żadnego sensu — z owej niezdolnej ich pojąć nicości, jaką będzie moja babka niebawem.

— Drogi panie, zapewne, owszem, ale pan nie zamówił godziny, nie ma pan numeru. Zresztą to nie jest mój dzień przyjęć. Państwo muszą mieć swojego lekarza. Ja nie mogę mu wchodzić w drogę, o ile mnie nie wezwie na konsylium. To kwestia etyki lekarskiej...

W chwili gdy m kiwał na fiakra, spotkałem sławnego profesora E..., niemal przyjaciela mego ojca i dziadka, w każdym razie dobrego ich znajomego, który mieszkał przy avenue Gabriel. Wiedziony nagłym natchnieniem, zatrzymałem go w chwili, gdy wracał, i pomyślałem, że mógłby być znakomitą pomocą babce. Ale on, spiesząc się, wzięwszy swoją pocztę, chciał mnie splawić; mogłem z nim mówić jedynie w windzie. Prosił, abym mu zostawił manipulację guzikami, to była jego mania.

— Ale, panie profesorze, ja pana nie proszę, żeby pan przyjął babkę, zrozumie pan z tego, co panu powiem, że stan jej nie pozwoliłby... Przeciwnie, ja pana proszę, żeby pan zechciał zająć do nas za pół godziny, kiedy ona wróci.

— Zająć do państwa, ależ, drogi panie, niepodobieństwo! Mam obiad u ministra handlu, muszę przedtem odbyć jedną wizytę, zaraz się muszę ubierać; na dobitkę frak mi się rozdarł, a drugi nie ma tasiemki na ordery. Proszę pana, niech pan będzie tak dobry nie ruszać windy, nie umie pan manipulować, trzeba być ostrożnym w takich rzeczach. Spóźnię się przez ten frak! Wreszcie, przez przyjaźń dla pańskiej rodziny, gdyby babka pańska zaraz tu przyszła, przyjąłbym ją. Ale uprzedzam, że nie mogę jej ofiarować więcej niż kwadrans.

Wróciłem natychmiast, nie wysiadając nawet z windy, którą profesor E... osobiście spuścił na dół, przyjrawszy mi się z nieufnością.

Powiadamy wszyscy, że godzina śmierci jest niepewna, ale kiedy to mówimy, wyobrażamy sobie tę godzinę jak gdyby w mglistej i odległej przestrzeni; nie myślimy, aby miała jakikolwiek związek z zaczętym już dniem i aby mogła znaczyć, że śmierć — lub pierwsze jej częściowe objęcie nas w posiadanie, po którym już nas nie wypuści — mogłoby nastąpić tegoż samego popołudnia, tak określonego, tego popołudnia, w którym plan wszystkich godzin jest wytyczony z góry. Przestrzegamy zwykłej przechadzki, aby mieć w ciągu miesiąca ogólną sumę świeżego powietrza; wahamy się, jaki wziąć płaszcz, jakiego fiakra, sadowimy się, dzień cały jest przed nami — krótki, bo chcemy wrócić na czas z powodu jakiejś schadzki, chcielibyśmy, aby nazajutrz było równie ładnie, i nie domyślamy się, że śmierć, posuwająca się w nas na innej płaszczyźnie, w nieprzeniknionym mroku, wybrała właśnie ten dzień, aby wstąpić na scenę, za kilka minut, bez mała w chwili gdy powóz wjedzie na Pola Elizejskie. Może ci, których zazwyczaj oblega groza dziwności związanej ze śmiercią, znajdują coś uspokajającego w tym rodzaju śmierci — w tym rodzaju pierwszego z nią kontaktu — bo śmierć staje się w ten sposób czymś jakby znanym, poufałym, codziennym. Poprzedziło ją dobre śniadanie, spacer — taki sam, jaki odbywa wielu zdrowych. Powrót otwartym powozem następuje po pierwszym jej zamachu; mimo groźnego stanu babki ostatecznie wiele osób mogłoby powiedzieć, że

o szóstej, kiedyśmy wracali z Pól Elizejskich, kłaniali się jej, widząc ją w cudną pogodę, w otwartym powozie. Legrandin, który szedł w stronę placu Zgody, uklonił się nam, przystając zdziwiony. Ja, który nie byłem jeszcze oderwany od życia, spytałem babki, czy mu się odkloniła, zwracając jej uwagę, że on jest drażliwy. Ale babka, uważając zapewne, że jestem bardzo dziecinny, podniosła rękę, jak gdyby mówiąc: „Cóż to wszystko znaczy? To nie ma żadnego znaczenia”.

Tak, można by powiedzieć, że podczas gdy ja szukałem fiakra, babka siedziała na ławce w avenue Gabriel; że trochę później jechała otwartym powozem. Ale czyby to była prawda? Na to, aby stać w alei, ławka — mimo że i ona podlega pewnym warunkom równowagi — nie potrzebuje energii. Ale, aby żywa istota była czymś stałym — nawet oparta na ławce lub w powozie — trzeba napięcia sił, którego nie czujemy zwykle, tak samo jak nie czujemy ciśnienia atmosfery, dlatego że działa ze wszystkich stron. Gdyby w nas uczynić próżnię i poddać nas ciśnieniu powietrza, wówczas przez chwilę poprzedzającą nasze zniweczenie, uczulibyśmy może straszliwy ciężar niezrównoważony niczym. Tak samo kiedy się w nas otwierają otchłanie choroby i śmierci i kiedy nie możemy już nic przeciwstawić zgiełkowi, z jakim świat i nasze własne ciało rzucają się na nas, wówczas wytrzymać nawet ciężar naszych mięśni, nawet dreszcz pustoszący nasz szpik, wówczas nawet trwać nieruchomo w pozycji, którą uważamy zazwyczaj za czysto bierną, to — o ile chcemy, aby głowa trzymała się prosto, a spojrzenie zachowało spokój — wymaga nakładu energii i staje się przedmiotem wyczerpującej walki.

I jeżeli Legrandin przyjrzał się nam zdziwiony, to dlatego że jemu, jak innym przechodniom, w tym fiakrze, w którym babka na pozór siedziała, wydała się ona czymś zapadającym się, osuwającym się w przepaść; czepiająca się rozpaczliwie poduszek, które ledwie mogły przytrzymać jej walące się ciało, z włosami w nieładzie, z błędnym wzrokiem, niezdolna już stawić czoła naporowi obrazów, których nie mogła przyjąć jej żrenica. Była, mimo iż siedząc koło mnie, zanurzona w owym nieznanym świetle, gdzie już doznała ciosów, których ślady nosiła, kiedy ją ujrzał przed chwilą na Polach Elizejskich, gdy jej kapelusz, jej twarz, jej płaszcz nosiły ślady ręki niewidzialnego anioła, z którym stoczyła walkę. Myślałem później, że ten atak nie musiał całkowicie zaskoczyć babki, że może przewidziała go długo naprzód, że żyła w jego oczekiwaniu. Oczywiście, nie wiedziała, kiedy ta fatalna chwila przyjdzie; niepewna, podobna w tym do kochanków, którym tego samego rodzaju wątpliwość każe na przemian snuć niedorzeczne nadzieje i nieusprawiedliwione posądzenia na temat wierności ich łubej. Ale rzadko się zdarza, aby owe wielkie choroby — jak ta, która wreszcie ugodziła babkę wprost — nie zamieszkały na długo wprzód w chorym, zanim go zabiją, i aby w tym okresie nie nawiązały z nim rychło znajomości, niby towarzyski sąsiad lub lokator. Straszliwa to znajomość, nie tyle przez cierpienie, jakie sprawia, ile przez niesamowitą nowość ostatecznych ograniczeń, jakie nakłada życiu. Człowiek ogląda wówczas swoją śmierć nie w samej chwili śmierci, ale na miesiąc, czasem na lata naprzód, od czasu jej ohydneho w nas zamieszkania. Chora zapoznaje się z tym obcym, którego słyszy przechadzającego się po swoim mózgu. Zapewne, nie zna go z widzenia, ale z ciągłych hałasów wnosi o jego obyczajach. Czy to złoczyńca? Pewnego rana nie słyszy go już. Poszedł. Och! gdybyż na zawsze! Wieczorem — wrócił. Co on ma za zamiary? Domowy lekarz, poddany śledztwu niby ubóstwiana kochanka, odpowiada zapewnieniami, którym jednego dnia się wierzy, innego nie. Zresztą lekarz ma tutaj rolę nie tyle kochanki, ile rolę badanych służących. To są tylko „osoby trzecie”. Istotą, którą przyciskamy do muru, którą podejrzewamy o gotowość zdrady, jest samo życie; i — mimo iż czujemy, że ono nie jest już to samo — wierzymy w nie jeszcze, czepiamy się bodaj wątpliwości, aż do dnia, w którym nas wreszcie opuści.

Wsadziłem babkę do windy; po chwili wyszedł profesor i wpuścił nas do gabinetu. Ale tam, mimo całego pośpiechu, szorstki wyraz twarzy lekarza zmienił się; tak bardzo mocne są przyzwyczajenia, on zaś miał zwyczaj być miły, nawet jowialny z chorymi. Wiedząc, że babka jest bardzo ocytana (jak i on), zaczął jej przez parę minut recytować piękne wiersze o promiennym lecie, które właśnie było. Posadził chorą w fotelu, sam siadając pod światło, aby ją dobrze widzieć. Badał ją drobiazgowo, kazał mi nawet wyjść na chwilę. Jeszcze badał, po czym — mimo iż kwadrans dobiegał końca — znów zaczął częstować babkę cytatami. Rzucił nawet parę wcale dowcipnych żarcików, które byłbym wolał usłyszeć innego dnia, ale których ton uspokoił mnie kompletnie. Przypomniałem

Choroba, Śmierć

sobie, że Fallières<sup>493</sup>, prezydent senatu, miał przed wielu laty fałszywy atak; że, ku rozpaczy swoich współzawodników, wrócił w trzy dni potem do zwykłych funkcji i gotował się, jak mówiono, kandydować w nieokreślonej przyszłości na prezydenta Republiki. Ufność moja w rychłe wyzdrowienie babki była tym pełniejsza, ile że w chwili gdy sobie przypominał przykład pana Fallières, wyrwał mnie z moich myśli szczerzy wybuch śmiechu, którym profesor E... zakończył jakąś anegdotę. Po czym wyciągnął zegarek, zmarszczył nerwowo brwi, widząc, że się spóźnił o pięć minut, i żegnając się z nami, zadzwonił, aby mu natychmiast podano frak. Puściłem babkę przodem, zamknąłem drzwi i prosiłem uczonego, żeby mi powiedział prawdę.

— Pańska babka jest stracona — rzekł. — Atak uremii<sup>494</sup>. Sama w sobie uremia nie jest absolutnie śmiertelna, ale ten wypadek wydaje mi się rozpaczliwy. Nie potrzebuję panu mówić, iż pragnąłbym się mylić. Zresztą, mając doktora Cottard, jesteście państwo w wybornych rękach. Daruje mi pan — rzekł, widząc pokojówkę niosącą jego frak. — Mówiłem panu, że mam obiad u ministra, przedtem jeszcze wizytę. Ha! W życiu nie stąpamy po samych różach, jak się mniema w pańskim wieku.

I podał mi uprzejmie rękę. Zamknąłem drzwi, lokaj przeprowadził mnie wraz z babką, kiedy usłyszeliśmy głośnie wybuchy gniewu. Pokojówka zapomniała przyszyć tasiemkę na ordery. To znów potrwa dziesięć minut! Profesor grzmiał jeszcze, gdy ja patrzyłem w progę na babkę — straconą. Wszelka istota jest bardzo samotna. Pojechaliśmy do domu.

Słońce miało się ku schyłkowi, rozplómieniało niekończący się mur, wzdłuż którego fiakier jechał, zanim skręcił w naszą ulicę. Rzucony przez zachodzące słońce cień konia i powozu odcinał się czarno na rdzawym tle, niby wóz żałobny na pompejańskiej<sup>495</sup> terakocie<sup>496</sup>. Wreszcie przybyliśmy. Posadziłem chorą na dole w sieni i poszedłem uprzedzić matkę. Powiedziałem, że babce zrobiło się trochę niedobrze, zawrót głowy. Od pierwszych słów, twarz matki dosięgła paroksyzmu rozpaczy, ale tak już zrezygnowanej, iż zrozumiałem, że od lat miała ją w sobie w pogotowiu na niepewny dzień katastrofy. Nie pytała o nic; można by rzec, iż tak samo jak złość lubi przesadzać cierpienia drugich, tak ona przez czułość nie chciała dopuścić, aby stan matki był groźny, a zwłaszcza aby mógł dotknąć władz myśli. Mama drżała, twarz jej płakała bez łez; zawołała, aby posłano po lekarza, ale kiedy Franciszka spytała, kto jest chory, matka nie mogła odpowiedzieć, głos uwiązał jej w gardle. Zeszła, biegnąc ze mną, tamując łkanie, które marszczyło jej twarz.

Babka czekała na kanapce w sieni, ale kiedy nas usłyszała, wstała, wyprostowała się, zaczęła do mamy wesoło kiwać ręką. Owinąłem jej głowę białą koronką, mówiąc, że to dlatego, żeby się nie zaziębiła na schodach. Nie chciałem, aby matka zbyt wyraźnie zauważyła zmianę twarzy, skrzywienie ust. Ale ostrożność moja była daremna; matka zbliżyła się do babki, ucałowała jej rękę jak rękę swego Boga, podtrzymała ją, przydźwigała ją aż do windy, z nieskończonymi ostrożnościami, w których, obok obawy niezręczności i sprawienia jej bólu, była pokora istoty jakby niegodnej dotknąć czegoś najcenniejszego. Ale ani razu nie podniosła oczu, nie popatrzyła w twarz chorej. Może dlatego, aby babka nie zasmuciła się myślą, że jej widok mógł zaniepokoić córkę. Może przez lęk przed bólem zbyt silnym, z którym nie miała odwagi się zmierzyć. Może i przez szacunek, bo nie sądziła, aby jej wolno było bez świętokradztwa stwierdzić jakiś ślad upośledzenia umysłowego na tej uwielbionej twarzy. Może, aby zachować nietknięty obraz prawdziwej twarzy swej matki, promieniejący rozumem i dobrocią. Toteż jechały w górę, siedząc obok siebie, babka wpółzakryta mantylką, matka odwracając oczy.

Była natomiast przez ten czas inna osoba, niespuszczająca oczu ze zmienionej twarzy babki, w którą córka nie miała spojrzeć; osoba wlepiająca w tę twarz osłupiałe, niedyskretne i złowróżbne spojrzenie: była nią Franciszka. Nie znaczy to, aby nie kochała szczerze babki (sprawił jej nawet zawód, niemal zgorszył ją chłód mamy, która, wedle

<sup>493</sup>Fallières, Armand (1841–1931) — francuski polityk, prezydent Senatu (od 1899), premier (1883) i prezydent Francji (1906–1913). [przypis edytorski]

<sup>494</sup>uremia (med.) — mocznica, stan zatrucia organizmu produktami przemiany materii (m.in. mocznikiem) jako przejaw zaawansowanej niewydolności nerek. [przypis edytorski]

<sup>495</sup>pompejański — pochodzący z Pompejów, staroż. rzymskiego miasta zasypanego pyłem wulkanicznym w czasie wybuchu Wezuwiusza w 79 n.e., szerzej znanego dzięki wykopaliskom prowadzonym systematycznie od 1869. [przypis edytorski]

<sup>496</sup>terakota — wyroby z oczyszczonej i wypalanej gliny, zwykle figurki lub ozdobne płytki. [przypis edytorski]

niej, powinna by się rzucić z płaczem w ramiona matki), ale miała wrodzoną skłonność widzenia wszystkiego z najgorszej strony. Zachowała z dzieciństwa dwie właściwości, które powinny by się wykluczać, ale które kiedy się spotkają z sobą, wzmacniają się wzajem: prostactwo chłopów, którzy nie starają się ukryć wrażeń, nawet przerażenia, obudzonego w nich widokiem zmian fizycznych, których delikatniej byłoby nie zauważyć, i nieczulą srogość wieśniaczki, obrywającej skrzydła ważkom, zanim będzie miała sposobność skręcać szyję kurczętom, i nieposiadającej wstydlivosti, która by jej kazała ukryć ciekawość cudzego cierpienia.

Kiedy dzięki niezrównanym staraniom Franciszki babka znalazła się w łóżku, uczuła, że mówi o wiele swobodniej. Naddarcie lub zatkanie naczynia, spowodowane uremią, musiało być bardzo lekkie. Wówczas babka pomyślała o mamie, chciała jej być pomocą w najokrutniejszych chwilach, jakich zaznała w życiu.

— No cóż, dziecko — rzekła, biorąc ją za rękę, drugą zaś ręką zasłaniając usta, aby tym upozorować lekką trudność, jakiej doznawała jeszcze, wymawiając pewne wyrazy — więc ty tak żałujesz matki! Myślisz, że to przyjemna rzecz taka niestrawność?

Wówczas po raz pierwszy oczy matki wpiły się namiętnie w oczy babki, nie chcąc widzieć reszty twarzy. Otwierając listę owych fałszywych zakłęb, których nie możemy dotrzymać, matka rzekła:

— Mamo, będziesz niedługo zdrowa, córka ci za to ręczy.

I wkładając swoją najsilniejszą miłość, całą swoją wolę wrócenia matce zdrowia w pocałunek, któremu powierzyła tę miłość i tę wolę i któremu towarzyszyła swoją myślą, całym swoim jestestwem aż po kraniec warg, złożyła pokornie i nabożnie ten pocałunek na ubóstwianym czole.

Babka skarżyła się na zator kolder, wciąż tworzący się uparcie z tej samej strony na lewej nodze. Ale nie zdawała sobie sprawy, że to ona sama jest tego przyczyną, tak iż co dzień niesłusznie winiła Franciszkę, że źle prześcieliła łóżko. Konwulsyjnym ruchem odrzucała na tę stronę całą falę pieniających się koców z cienkiej wełny, które się tam gromadziły niby piasek w zatoce, bardzo szybko zamulonej (o ile się nie zbuduje tamy) ciągłym osadem przyplywu.

Matka i ja (kłamstwo nasze natychmiast odgadła Franciszka, przenikliwa i brutalna) nie chcieliśmy nawet mówić, że babka jest bardzo chora, jak gdyby to mogło zrobić przyjemność wrogom, których zresztą nie miała, i jakby czulej było sądzić, że nie jest z nią tak źle. Był to ten sam instynkt, który kazał mi przypuszczać, iż Anna zanadto boleje nad Albertyną, aby ją miała bardzo kochać. Te same zjawiska powtarzają się w wielkich momentach, zarówno w poszczególnych osobach, jak w masach. W czasie wojny ktoś, kto nie kocha swojego kraju, nie mówi o nim źle, ale wierzy w jego klęskę, boleje nad nim, widzi rzeczy czarno.

Franciszka oddawała nam nieskończone usługi dzięki swojej zdolności obywania się bez snu, dopełniania najcięższych robót. Kiedy się poszła położyć po kilku nieprzespanych nocach, jeżeli trzeba ją było wołać w kwadrans po tym, jak zasnęła, była tak szczęśliwa, że może robić rzeczy uciążliwe niby coś najprostszego w świecie, iż bez najmniejszego szemrania okazywała tylko pełne skromności zadowolenie. Jedynie kiedy przyszła godzina mszy i pierwszego śniadania, wówczas, choćby nawet babka konała, Franciszka wymknęłaby się w porę, aby się nie spóźnić. Młody służący, przydany jej do posługi, nie mógłby jej zastąpić, zresztą nie zgodziłaby się na to. To pewne, że Franciszka wyniosła z Combray bardzo wysokie pojęcie o obowiązkach każdego wobec nas; nie zniosłaby, aby któryś z naszych ludzi „chybił” nam. Zrobiło to z niej tak szlachetną, tak władczą i skuteczną wychowawczynię, że nie zdarzył się u nas służący na tyle zepsuty, aby szybko nie zmienił i nie oczyścił swoich pojęć o życiu aż do tego stopnia, że wyrzekł się „koszykowego” i rzucał się — choćby przedtem był najmniej usłużny — aby mi wziąć z ręki lada paczkę i nie dać mi się męczyć. Ale równocześnie Franciszka nabyła w Combray przeniesionego później do Paryża zwyczaju nieznoszenia żadnego pomocnika w swojej pracy. Wszelka pomoc zdawała się jej ubliżeniem. Czasem przez całe tygodnie służący nie uzyskał od niej odpowiedzi na ranne dzień dobry, czasem zgoła wyjechał na wakacje bez jej pożegnania, nie mogąc zgadnąć czemu; a w istocie z tej jednej przyczyny, że któregoś dnia, kiedy Franciszka była niezdrowa, chciał odrobić za nią trochę roboty.

Obecnie, kiedy babka była tak chora, robota tym bardziej zdawała się Franciszce jej własnością. Niby primadonna, nie dałaby sobie odebrać roli w te galowe dni. Toteż młody służący, usuwany przez nią, nie wiedział, co robić, i nie poprzestając na tym, że czerpał, jak Wiktor, papier listowy z mojego biurka, zaczął jeszcze zabierać tomy poezji z mojej biblioteki. Czytał je po całych dniach przez podziw dla poetów, co je ułożyli, ale także po to, aby przez resztę czasu zdobić cytatami listy do przyjaciół na wsi. Z pewnością zamierzał olśnić ich w ten sposób. Ale ponieważ był niezbyt rozgarnięty, ubrdał sobie, że te znalezione w mojej bibliotece poematy są czymś powszechnie znanym, na co można się powoływać. Tak iż pisząc do tych chłopków, których zdumieniem z góry się cieszył, własne refleksje przeplatał wierszami Lamartine'a, tak jakby mówił „pomogaj, Boże” lub zgoła „Dzień dobry”.

Z powodu bólów pozwolono dać babce morfinę. Nieszczęściem, uśmierzając bóle, morfina zwiększała równocześnie ilość białka. Ciosy, które wymierzaliśmy w chorobę zamieszkałą w babce, trafiały zawsze fałszywie; to ona, to jej biedne ciało otrzymywało je, przy czym ona odpowiadała na nie jedynie słabym jękiem. A bólów, któreśmy jej sprawiali, nie przeciwwazyła ulga, której nie mogliśmy jej przynieść. Zaledwie się nam udało musnąć okrutne cierpienie, które byśmy w niej chcieli zniweczyć; przywodziliśmy je tylko do tym większej wściekłości, przyspieszając może godzinę, w której branka stanie się jego pastwą. W dni, w które ilość białka była zbyt znaczna, Cottard po chwili wahania odmawiał morfiny. U tego tak mało inteligentnego, tak przeciętnego człowieka, w tych krótkich chwilach, kiedy się zastanawiał, kiedy wahał się nad bezpieczeństwem dwóch sposobów leczenia, aby się zatrzymać przy jednym, było coś z wielkości wodza, który, pospolity we wszelkiej innej sferze, jest wielkim strategiem i w groźnym momencie, pomyślawszy chwilę, decyduje się na to, co skuteczniejsze, mówiąc: „Przegrupować się na wschód”.

Z lekarskiego punktu widzenia, mimo iż mało było nadziei przecięcia ataku uremii, nie trzeba było nużyć nerek. Ale z drugiej strony, kiedy babce nie dano morfiny, bóle stawały się nie do zniesienia; powtarzała bez końca pewien ruch, który trudno jej było wykonać bez jęku. Cierpienie bywa przeważnie funkcją organizmu uświadamiającego sobie nowy stan, który go niepokoi, dostrajającego swoją wrażliwość do tego stanu. Można stwierdzić tę genezę bólu na wypadkach dolegliwości, które niejednako dokuczają każdemu. Do pokoju pełnego cuchnącego dymu dwaj mało wrażliwi ludzie wejdą i będą funkcjonowali normalnie; trzeci, delikatniejszy z natury, będzie zdradzał nieustający niepokój. Nozdrza jego nie przestaną chwytac niespokojnie zapachu, którego — zdawałoby się — powinien by próbować nie czuć, a który będzie się starał za każdym razem dostosować, przez ściślejsze jego poznanie, do swego urażonego zmysłu powonienia. Stąd pochodzi z pewnością, że żywe zaabsorbowanie czymś każe zapomnieć o bólu zębów. Kiedy babka tak cierpiała, pot spływał po jej wielkim sinym czole, zlepiając białe kosmyki włosów. Kiedy myślała, że nas nie ma w pokoju, krzyczała: „Och, to straszne!”, ale kiedy spostrzegła matkę, natychmiast obracała całą energię na to, aby usunąć z twarzy ślady bólu, lub — przeciwnie — powtarzała tę samą skargę, z towarzyszeniem komentarzy, dających wstecz inny sens słowom dosłyszczanym przez matkę.

— Och, tak, dziecko, to straszne musieć leżeć w ten piękny czas, kiedy by się chciało iść na spacer. Do rozpaczy mnie doprowadzają wasze zakazy!

Ale nie mogła powściągnąć jęku swoich spojrzeń, potu na czole oraz konwulsyjnego, mimo iż natychmiast powściąganego drgania członków.

— Nie boli mnie; skarżę się, bo tak mi źle leżeć, czuję, że mam włosy nie w porządku, nudzi mnie, uderzyłam się o ścianę.

A u stóp łóżka matka, przykuta do tego cierpienia, tak jakby, przesywając spojrzeniem to bolesne czoło, to ciało, które tailo chorobę, miała w końcu dosięgnąć ją i usunąć — matka mówiła:

— Nie, mamusiu droga, nie pozwolimy ci tak cierpieć, znajdziemy coś, bądź cierpliwa przez chwilę, czy pozwolisz się ucałować, ale tak, żebyś się nie ruszała?

I pochylona nad łóżkiem, z uginającymi się nogami, wpół klęcząc, jak gdyby w tej kornej postawie skuteczniej mogła ziszczyć żarliwy dar siebie samej, pochylała ku babce całe własne życie w swojej twarzy niby w cyborium<sup>497</sup>, które jej podawała, zdobne płaskorzeź-

<sup>497</sup>cyborium — naczynie w kształcie puszeki lub kielicha, służące do przechowywania hostii. [przypis edytorski]

bą brzd i fałdów tak namiętych, tak zrozpaczonych, a tak słodkich, że nie wiedziało się, czy je tam wyzłośliwił dłuży pocałunku, łkania czy uśmiechu. I babka próbowała zbliżyć do mamy twarz. Była tak zmieniona, że gdyby miała siłę wyjść z domu, poznano by ją chyba po piórze na kapeluszu. Rysy jej, jakby pod ręką rzeźbiarza, siliły się niejako — wysiłkiem odwracającym ją od wszystkiego innego — dostroić do jakiegoś nieznanego nam modelu. Ta praca rzeźbiarza dobiegała końca; twarz babki zmniejszyła się, a równocześnie stwardniała. Przebiegające ją żyły robiły wrażenie nie marmuru, ale jakiegoś bardziej chropawego kamienia. Wciąż pochylona ku przodowi wskutek trudności oddychania, a równocześnie skurczona w sobie od zmęczenia, twarz jej, zniszczona, zmaląła, okrutnie wyrazista, podobna była do prymitywnej, niemal przedhistorycznej rzeźby i w rzeźbie tej do surowej, sinej, ceglastej, zrozpaczonej twarzy jakiejś dzikiej strażniczki grobu. Ale dzieło nie było jeszcze skończone. Trzeba by ją potem skruszyć, a potem spuścić w ten grób, którego strzegła tak mozolnie, z tym twardym skurczem twarzy.

W jednej z tych chwil, w których, jak to mówią, nie wiadomo już, czego się chwycić, ponieważ babka bardzo kaszlała i kichała, posłuchano rady jakiegoś krewniaka, który twierdził, że specjalista X... kuruje z takich rzeczy w trzy dni. Światowi ludzie opowiadają tak o swoich lekarzach i wierzy się im, jak Franciszka wierzyła w reklamy dzienników. Specjalista przybył ze swoim etui, naładowanym — niby worek Eola<sup>498</sup> — wszystkimi katarami jego pacjentów. Babka nie chciała się dać zbadać. A my, zażenowani wobec doktora, który się trudził na próżno, poddaliśmy się jego chęci kolejnego zbadania naszych nosów, mimo że nie były chore. Ale on twierdził przeciwnie — i że migrena, katar kiszek, choroba serca lub cukrzyca, wszystko to jest zaniedbana choroba nosa. Każdemu z nas oświadczył: „Pan ma tu małe zgrubienie, które chętnie bym poznał bliżej. Niech pan nie czeka zbyt długo. Parę przyżegań uwolniłoby pana od tego”.

To pewne, iż w tej chwili mieliśmy co innego w głowie. Jednak pytaliśmy sami siebie: „Od czego by uwolniło?” Krótko mówiąc, wszystkie nosy były chore; doktor mylił się jedynie, ustalając rzecz w czasie terażniejszym. Bo do jutra jego badanie i jego przewidywany zabieg zrobiły swoje: każdy z nas dostał kataru. I kiedy doktor spotkał na ulicy ojca kichającego na umór, uśmiechnął się na myśl, iż nieuk mógłby przypisać tę chorobę jego interwencji. Zbadał nas (wierzył w to święcie) w chwili, gdyśmy już byli chorzy.

Choroba babki dała różnym osobom sposobność objawienia nadmiaru lub niedostatku sympatii, które nas zdziwiły w tym samym stopniu, co charakter przypadku ujawniającego nam łańcuchy okoliczności lub nawet przyjaźni, których nie bylibyśmy podejrzewali. A oznaki współdziałania ze strony osób, które wciąż przychodziły zasięgnąć wiadomości, zdradzały nam niebezpieczeństwo choroby, któregośmy dotąd nie dosyć zizolowali, nie dosyć oddzielili od tysiąca bolesnych wrażeń odczuwanych przy chorobie.

Siostry babki, uprzedzone depeszą, nie ruszyły się z Combray. Odkryły artystę, który je raczył doskonałą muzyką kameralną; w tej muzyce spodziewały się znaleźć, skuteczniej niż przy łożu chorej, bolesne skupienie i podniesienie ducha. Bądź co bądź forma ta wydała się nam szczególną. Pani Sazerat napisała do mamy, ale jak osoba, z którą nagle zerwane zaręczyny (zerwaniem był dreyfusizm) rozdzieliły nas na zawsze.

W zamian za to Bergotte spędzał co dzień u mnie po kilka godzin. Z dawna lubił zagnieździć się na jakiś czas w domu, gdzie się nie musiał wysilać. Ale dawniej lubił to po to, aby mówić bez przerwy; teraz po to, aby długo trwać w milczeniu, którego nikt nie przerywał. Bo on był bardzo chory; jedni mówili — na białkomocz, jak babka; wedle innych to był nowotwór. Coraz bardziej opadał z sił, z trudem wspinał się do nas na schody, z jeszcze większym trudem schodził. Mimo iż trzymał się poręczy, chwał się często; sądzę, że najchętniej siedziałby w domu, gdyby się nie bał całkowicie odwyknąć od ludzi, wyjść z obiegu, on, „człowiek z bródką”, którego znałem niedawno tak żwawym. Nie widział już prawie, często nawet słowa mu się płątały.

Ale w tym samym czasie, wręcz odwrotnie, dzieła jego, znane jedynie elicie wówczas, gdy pani Swann patronowała nieśmiałym próbom ich spopularyzowania, teraz rozrosło i tęgie w oczach wszystkich, zdobyły ogromny rozgłos wśród najszerszej publiczności. Bez

<sup>498</sup>*Eol* (mit. gr.) — bóg wiatrów; w *Odysei* podarował Odyseuszowi worek z zamkniętymi w nim nieprzychylnymi wichrami, które mogłyby utrudniać jego statkom podróż powrotną do domu, jednak towarzysze Odyseusza, widząc już brzegi ojczystej Itaki, otworzyli worek, a uwolnione wiatry zepchnęły okręty na pełne morze. [przypis edytorski]

wątpienia, zdarza się, że dopiero po śmierci pisarz robi się sławny. Ale Bergotte jeszcze za życia i w czasie swego powolnego posuwania się ku śmierci był świadkiem kroczenia swoich dzieł ku sławie. Autor umarły jest przynajmniej znakomitym bez umęczenia. Blask jego nazwiska zatrzymuje się u grobowej płyty. Głuchy i wiekuisty sen broni go od natręctwa Chwały. Ale dla Bergotte'a kontrast ten nie ziścił się całkowicie. Pisarz istniał jeszcze na tyle, aby cierpieć od zgiełku. Poruszał się jeszcze, mimo iż z trudem, gdy jego dzieła, podskakując jak córki, które się kocha, ale których impetyczna młodość i hałaśliwe zabawy męczą nas, co dnia ściągały do jego łóżka nowych wielbicieli.

Wizyty jego u nas spóźniły się dla mnie o kilka lat, bo już go nie podziwiałem tyle co wprzód. Nie było w tym sprzeczności ze wzrostem jego sławy. Zwykle zanim jakieś dzieło stanie się całkowicie zrozumiane i zwycięskie, już dzieło innego pisarza, jeszcze nieznanego, zaczyna u niektórych wybredniejszych wprowadzać nowy kult w miejsce tamtego, który stał się już niemal powszechny. W książkach Bergotte'a, które odczytywałem często, zdania były moim oczom równie jasne jak własne myśli, jak meble w moim pokoju i dorożki na ulicy. Wszystkie rzeczy widziało się w nich bez trudu, jeżeli nie tak, jak się je widziało zawsze, to bodaj tak, jak się przywykło widzieć je teraz. Otóż pewien nowy pisarz zaczął ogłaszać utwory, gdzie związki między rzeczami były tak odmienne od tych, które wiązały te same rzeczy dla mnie, że nie rozumiałem prawie nic. Mówił na przykład: „Węże do polewania podziwiały piękny stan dróg (to było łatwe, pomykałem tymi drogami) wyjeżdżających co pięć minut z Brianda<sup>499</sup> i z Claudela<sup>500</sup>”. Wówczas nie rozumiałem nic, bo spodziewałem się nazwy miasta, a spotykałem nazwisko osoby. Ale czułem, że to nie zdanie jest źle napisane, ale ja nie jestem dość silny i zwinny, aby je doścignąć. Rozpędzałem się na nowo, pomagałem sobie nogami i rękami, aby dotrzeć do punktu, z którego bym ujrzał nowe związki rzeczy. Za każdym razem, doszedłszy mniej więcej do połowy zdania, opadałem — niby później w pułku przy ćwiczeniu zwanym „portykiem”. Mimo to żywiłem dla nowego pisarza ów podziw, jaki niezgrabne dziecko, mające „pałkę” z gimnastyki, odczuwa dla innego, zręczniejszego. Odtąd mniej podziwiałem Bergotte'a, którego jasność zdała mi się ubóstwem.

Był czas, kiedy bez trudu poznawano przedmioty, gdy je namalował Fromentin<sup>501</sup>, a nie poznawano ich u Renoira<sup>502</sup>. Smakosze mówią nam dziś, że Renoir to jest wielki malarz XVIII wieku. Ale mówiąc tak, zapominają o Czasie i o tym, że dużo go było trzeba, nawet w pełni wieku XIX, aby Renoira uznano wielkim artystą. Aby osiągnąć takie zrozumienie, oryginalny malarz, oryginalny artysta postępują na sposób okulistów. Leczenie ich malarstwem, ich stylem nie zawsze jest przyjemne. Kiedy jest ukończone, lekarz powiada do nas: „Teraz patrz”. I oto świat (który nie był stworzony raz, ale równie często, jak często zjawiał się oryginalny artysta) ukazuje się nam zupełnie odmienny od dawnego, ale całkowicie jasny. Mijają nas na ulicy kobiety różne od dawniejszych, bo to są Renoiry; owe Renoiry, w których wzdraliśmy się niegdyś widzieć kobiety. Powozy są też Renoiry, i woda, i niebo; mamy ochotę przechadzać się po lesie podobnym do tego, który pierwszego dnia wydawał nam się wszystkim, a nie lasem, na przykład dywanem o barwach bogatych, ale pozbawionym właśnie barw właściwych lasom. Oto jest nowy i nietrwały świat, świeżo stworzony. Będzie trwał aż do następnej geologicznej katastrofy, którą rozpęta nowy oryginalny malarz lub nowy pisarz.

Pisarz, który mi zastąpił Bergotte'a, nużył mnie nie bezładem, ale nowością — mającą swój ład — związków, do których nie przywykłem. Wciąż ten sam punkt, do którego opadałem, wskazywał na tożsamość każdorazowego wysiłku. Zresztą kiedy raz na tysiąc razy zdołałem nadążyć pisarzowi aż do końca zdania, to, com oglądał, odznaczało się zawsze dowcipem, prawdą, urokiem, podobnymi tym, które niegdyś znajdowałem w lekturze Bergotte'a, ale w bardziej rozkosznej postaci. I myślałem sobie, że niewiele lat temu Bergotte przyniósł mi tę samą odnowę świata, podobną do tej, jakiej oczekiwałem po jego

<sup>499</sup> *Briand, Aristide* (1862–1932) — polityk francuski, wielokrotnie minister (gł. spraw zagranicznych), 11-krotnie premier; znany z zaangażowania w sprawy międzynarodowe; laureat Pokojowej Nagrody Nobla (1926). [przypis edytorski]

<sup>500</sup> *Claudel, Paul* (1868–1955) — francuski poeta i dramaturg, symbolista; członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>501</sup> *Fromentin, Eugène* (1820–1876) — francuski malarz, krytyk sztuki i pisarz. [przypis edytorski]

<sup>502</sup> *Renoir, Auguste* (1841–1919) — malarz i rzeźbiarz francuski, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu. [przypis edytorski]



następcy. I zaczynałem dumać, czy jest coś prawdy w rozróżnieniu, jakie stale robimy między sztuką, która jakoby się nie posunęła naprzód od czasu Homera, a wiedzą z jej nieustannym postępowaniem. Może, przeciwnie, sztuka podobna jest w tym do wiedzy; każdy nowy twórczy pisarz wydawał mi się postępowaniem w stosunku do jego poprzednika; i któż mi powie, czy za dwadzieścia lat, kiedy będę mógł towarzyszyć bez znużenia dzisiejszemu nowatorowi, nie zjawi się inny, wobec którego dzisiejszy zleje się z Bergotte'em?

Wspomniałem Bergotte'owi o nowym pisarzu. Obrzydził mi go, nie tyle przekonując mnie, że jego sztuka jest chropawa, łatwa i czcza, ile opowiadając, że on bywa ludzko podobny do Blocha. Obraz ten padł od tego czasu na stronie książki, sprawiając, iż nie czułem się już zobowiązany do wysiłku zrozumienia. Jeżeli Bergotte mówił o tym pisarzu źle, to nie tyle, jak sądzę, przez zazdrość o jego niepowodzenie, ile przez nieznaną jego utworów. Nie czytał prawie nic. Już większość jego myśli przeszła z mózgu w jego książki. Wychudł tak, jakby mu je wycięto. Instynkt rozrodczy nie pobudzał już jego energii teraz, kiedy wydzielił z siebie prawie wszystko, co myślał. Prowadził roślinne życie rekonwalescenta, położnicy; piękne jego oczy pozostawały nieruchome, nieco olśnione, jak oczy człowieka wyciągniętego nad morzem i w mglistej zadumie ścigającego po prostu bieg każdej małej fali. Zresztą jeżeli rozmowa z Bergotte'em mniej mnie interesowała niż dawniej, nie odczuwałem z tego powodu wyrzutów. Podlegał on tak bardzo przyzwyczajeniu, że skoro raz go nabrał, każde, najprostsze czy najwyszukańsze, stawało mu się na jakiś czas nieodzowne. Nie wiem, co go ściągnęło pierwszy raz; ale później przychodził co dzień z tej racji, że był wczoraj. Przychodził do nas tak, jakby szedł do kawiarni, po to, aby doń nie mówiono, aby on sam mógł — bardzo rzadko — mówić, tak że gdyby się chciało wyciągać jakiś wniosek z tej wytrwałości, można by ostatecznie znaleźć w niej dowód, że go obeszło nasze zmartwienie lub że znajduje przyjemność w moim towarzystwie.

Wizyty Bergotte'a nie były obojętne matce, wrażliwej na wszystko, w czym można było widzieć hołd dla chorej. I co dzień mówiła mi: „Nie zapomnij mu bardzo podziękować, koniecznie”.

Odwiedziła nas w owym czasie pani Cottard. Była to delikatna uprzejmość kobieca; coś niby podwieczorek, który żona malarza podaje między godzinami pozowania; w tym wypadku, gratisowy naddatek do odwiedzin lekarskich profesora. Przyszła nam ofiarować swoją „donnę”; jeżeli wolimy raczej męską usługę, ofiarowała się „podjąć wywiad”; co więcej, wobec naszej odmowy oświadczyła, iż spodziewa się bodaj, że to nie jest z naszej strony „rekuza dyplomatyczna”, słowo, które w jej świecie oznacza uchylene się od zaproszenia pod fałszywym pozorem. Upewniła nas, że profesor, który nigdy nie mówi w domu o pacjentach, jest tak smutny, jakby chodziło o nią samą. Okaże się później, że nawet gdyby to było prawdą, byłoby to zarazem bardzo mało i bardzo dużo ze strony tego najniewierniejszego i najwdzięczniejszego z mężów.

Propozycje równie użyteczne, a nieskończenie miłsze w formie (będącej połączeniem wysokiej inteligencji, wielkiego serca i rzadkiego wdzięku słowa) przesłał mi następca tronu wielki książę luksemburski<sup>503</sup>. Poznałem go w Balbec, gdzie odwiedził swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, wówczas gdy był jedynie hrabią de Nassau. Zaślubił w kilka miesięcy potem uroczą córkę innej księżnej de Luxembourg, nadzwyczaj bogatej, bo była jedyną córką pewnego księcia, właściciela olbrzymiego przedsiębiorstwa mącznego. Po czym wielki książę luksemburski, który nie miał dzieci i który ubóstwiał swego bratanka de Nassau, uzyskał to, że Izba uznała go księciem-następcą. Jak we wszystkich tego rodzaju małżeństwach, początki majątku są przeszkodą, będąc równocześnie istotną przyczyną. Zapamiętałem tego księcia de Nassau jako jednego z najniezwykleszych młodych ludzi, jakich spotkałem, już wówczas trawionego posępną i namiętą miłością do swojej narzeczonej. Bardzo mnie przejmowały listy, jakie wciąż pisał do mnie podczas choroby babki; nawet mama, wzruszona nimi, powtarzała smutno określenie swojej matki, że „Sévigné nie wyraziłaby tego lepiej”.

Szóstego dnia, ulegając prośbom babki, mama musiała ją opuścić na chwilę i udać, że idzie spocząć. Chciałem, żeby babka usnęła, tym samym, żeby się Franciszka nie ruszała.

<sup>503</sup> *Adolf, wielki książę Luksemburga* (1817–1905) — pierwszy wielki książę Luksemburga z niemieckiej dynastii Nassau (od 1890), wcześniej książę Nassau (1839–1866), zdetronizowany przez Prusaków po zajęciu i aneksji jego księstwa. [przypis edytorski]

Mimo moich błagań Franciszka wyszła z pokoju. Kochała babkę; przy swojej trzeźwości wzroku i swoim pesymizmie uważała ją za straconą. Rada by tedy była otoczyć ją wszystkimi możliwymi staraniami. Ale oznajmiono właśnie, że przyszedł monter, z dawna zaprzyjaźniony z jej rodziną, szwagier jej byłego pryncypała<sup>504</sup>, ceniony w naszym domu, gdzie miał pracę od wielu lat, zaprzyjaźniony zwłaszcza z Jupienem. Zamówiono go do roboty, zanim babka zachorowała. Sądziłem, że można by go odprawić albo kazać mu zaczekać. Ale etykieta Franciszki nie pozwalała na to; byłoby to niedelikatnie wobec tego zacnego człowieka, choroba babki już się nie liczyła za nic. Kiedy po kwadransie, zrozpaczony, poszedłem po Franciszkę do kuchni, zastałem ją rozmawiającą z monterem w sieni przy otwartych drzwiach. Proceder ten miał tę zaletę, że pozwalał — skoro nadszedł ktoś z nas — udać, że się właśnie mieli rozstać; ale miał tę wadę, że powodował straszliwe przeciągi. Franciszka pożegnała tedy montera, śląc za nim jeszcze parę hałaśliwych komplementów pod adresem jego żony i szwagra. Tę tak charakterystyczną dla Combray troskę, aby nie uchybić grzeczności, wносиła Franciszka nawet w swoją politykę zagraniczną. Głupcy wyobrażają sobie, że wielka skala zjawisk społecznych najlepiej pozwala wnikać w sekrety duszy ludzkiej; powinni by, przeciwnie, pojąć, iż większą mieliby szansę zrozumieć te zjawiska, zstępując w głąb jakiejś indywidualności. Franciszka tysiąc razy powtarzała ogrodnikowi z Combray, że wojna jest najnieдорzecznieszą zbrodnią i że nie ma nic ponad życie. Otóż kiedy wybuchła wojna rosyjsko-japońska, czuła się zażenowana wobec cara, żeśmy nie wydali wojny, aby pomóc tym „biednym Ruskom”, skoro się „jest w aliansach”, powiadała. Uważała, że to nieładnie wobec Mikołaja II<sup>505</sup>, który zawsze miał dla nas takie dobre słowa; był to wyraz tej samej etykiety, która by jej nie pozwoliła odmówić Jupienowi kieliszeczka, mimo iż wiedziała, że ją to „spiera i mgli”. Ta sama etykieta sprawiała, że wobec tak bliskiej śmierci babki sądziłaby, iż popełnia tę samą nieuprzejmość, o jaką oskarżała Francję wraz z jej neutralnością, gdyby nie przeprosiła osobiście pocziwego montera, który sobie zadał tyle trudu.

Na szczęście pozbyliśmy się prędko córki Franciszki, która musiała wyjechać na kilka tygodni. Do zwykłych rad, jakie dawano w Combray rodzinie chorego: „Nie próbowałicie państwo małej podróży, zmiany powietrza, czegoś na apetyt itd.”, osoba ta dodała myśl niemal jedyną, którą sobie specjalnie ukuła i którą powtarzała niestrudzenie przy każdej sposobności, jak gdyby chcąc ją wbić w głowę drugim: „Powinna się była leczyć *radykałnie* od początków”. Nie zalecała jakiejś specjalnej kuracji jako lepszej od innej; chodziło tylko o to, aby kuracja była *radykałna*. Franciszka znowuż zauważyła, że się babce daje mało lekarstw. Ponieważ, wedle niej, lekarstwa służą tylko na to, żeby popsuć żołądek, była z tego rada, ale jeszcze bardziej upokorzona. Miała na południu Francji krewnych — stosunkowo bogatych — których córka, zachorowawszy młodo, umarła, licząc dwadzieścia trzy lat; w ciągu kilku lat rodzice jej zrujnowali się na lekarstwa, na doktorów, na wędrówki od jednych „wód” do drugich — aż do końca. Otóż Franciszka brała to u tych krewnych za rodzaj zbytku, tak jakby mieli konie wyścigowe, willę na wsi. I oni sami, przy całym zmartwieniu, czerpali pewną próżność z tylu wydatków. Nie mieli już nic, nie mieli zwłaszcza swego najszacowniejszego dobra, swojej córki, ale lubili powtarzać, że zrobili dla niej co najmniej tyle co najbogatsi. Zwłaszcza pochlebiali im promienie ultrafioletowe, których działaniu poddawano nieszczęśliwą przez całe miesiące po kilka razy dziennie. Zbolały i dumny z siebie ojciec dochodził czasem do tego, że mówił o córce niby o gwiazdzie baletu, dla której by się zrujnował. Franciszka nie była nieczuła na taką wystawę; ta, która otaczała babkę, wydawała się jej zbyt skromna, w sam raz dla choroby na scenie prowincjonalnej.

Przyszła chwila, że zaburzenia uremiczne rzuciły się na oczy. Przez kilka dni babka zupełnie nie widziała. Oczy jej nie były wcale podobne do oczu ślepeca, nie zmieniły się. To, że nie widzi, zrozumiałem jedynie z jakiegoś specjalnego powitalnego uśmiechu, jaki przybierała, kiedy ktoś otworzył drzwi, aż do chwili, kiedy się ją wzięło za rękę; uśmiech ten zaczynał się za wcześnie i trwał na ustach, stereotypowy, stały, ale zawsze zwrócony wprost, tak aby go było widać ze wszystkich stron, bo nie było już wzroku, aby

Choroba, Wzrok, Oko

<sup>504</sup>pryncypał (przestarz.) — zwierzchnik, pracodawca. [przypis edytorski]

<sup>505</sup>Mikołaj II Romanow (1868–1918) — ostatni cesarz rosyjski, król Polski, wielki książę Finlandii; panujący od 1894, w wyniku rewolucji lutowej zmuszony do abdykacji w 1917, w 1918 razem z rodziną zamordowany przez bolszewików. [przypis edytorski]

go miarkować, aby mu wskazać chwilę, kierunek, aby go regulować, cieniować w miarę zmiany miejsca lub wyrazu twarzy wchodzącej osoby; dlatego że był sam, bez uśmiechu oczu, który by odwrócił trochę od niego czyjąś uwagę, przez co w swojej niezaradności przybierał nadmierny akcent, stwarzając wrażenie przesadnej uprzejmości.

Potem wzrok wrócił całkowicie; z oczu choroba rzuciła się na uszy. Przez kilka dni babka była głucha i bojąc się, aby jej nie zaskoczyło czyjeś nagłe wejście, którego by nie usłyszała, co chwila (mimo iż leżąc do ściany) zwracała gwałtownie głowę ku drzwiom. Ale ruch jej był niezręczny, bo niepodobna się człowiekowi dostroić w ciągu kilku dni do tej transpozycji, aby jeżeli nie patrzeć na hałasy, to przynajmniej słuchać oczami.

Wreszcie bóle zmniejszyły się, ale zaburzenia mowy wzrosły. Trzeba było kazać babce powtarzać prawie wszystko, co mówiła.

Obecnie, czując, że jej nie rozumieją, babka przestała w ogóle mówić i leżała nieruchomo. Ilekroć mnie spostrzegła, zrywała się jak ci, którym nagle zbraknie powietrza; chciała coś przemówić, ale wydawała jedynie niezrozumiałe dźwięki. Wówczas, pokonana własną bezsilnością, pozwalała głowie opaść, wyciągała się na łóżku, z poważną, marmurową twarzą, z bezwładnymi rękami na kołdrze lub zajęta czysto mechaniczną czynnością, na przykład wycieraniem palców chustką. Nie chciała myśleć. Potem opanował ją ciągły niepokój. Wciąż chciała wstawać. Powstrzymywano ją od tego, o ile się dało, z obawy, aby sobie nie zdała sprawy ze swego porażenia. Pewnego dnia, kiedy ją zostawiono na chwilę samą, zastałem ją stojącą w koszuli, próbowała otworzyć okno.

Pewnego dnia w Balbec, kiedy uratowano, wbrew jej woli, wdowę, która się rzuciła w wodę, babka powiedziała mi (może wiedziona owym przecuciem, które zdarza się nam czasami wyczytać w tajemniczych mrokach naszego organicznego życia, tak ciemnych, ale może odbijających przyszłość), że nie zna większego okrucieństwa niż wydzierać zrozpaczoną istotę upragnionej śmierci i narzucać jej dalsze męczeństwo.

Ledwo mieliśmy czas pochwycić babkę; bronila się matce prawie brutalnie, po czym, zwyciężona, przemocą posadzona w fotelu, przestała chcieć, żalować, twarz jej stała się niewzruszona. Zaczęła starannie usuwać z nocnej koszuli włosy futra, które jej narzucono.

Spojrzenie jej zmieniło się całkowicie. Często niespokojne, żalosne, błędne, nie było to już jej dawne spojrzenie; to było chmurne spojrzenie starej gładzącej kobiety.

Franciszka pytała się tyle razy babki, czy nie chce, aby ją uczesać, iż w końcu wyobraziła sobie, że to babka prosiła ją o to. Przyniosła szczotki, grzebienie, wodę kolońską, peniuar. Mówiła: „To nie może zmęczyć starszej pani, że ją uczeszę; choćby człowiek był i słaby, zawszeć może być uczesany”. To znaczy, że nigdy człowiek nie jest na tyle słaby, aby inna osoba nie mogła go uczesać. Ale kiedy wszedłem do pokoju, ujrzałem w okrutnych rękach Franciszki, uszczęśliwionej tak, jakby właśnie przywracała babce zdrowie, pod żalosną nędzą starych włosów niemających siły znieść dotknięcia grzebienia, głowę, która, niezdolna zachować narzuconej pozycji, osuwała się w nieustającym zamęcie na przemian wyczerpania i bólu. Czulem, że chwila, gdy Franciszka skończy czesanie, zbliża się; nie śmiałem przyspieszyć tej chwili słowem: „Dosyć”, z obawy, że mnie nie usłucha. Rzuciłem się natomiast ku niej, kiedy — chcąc, aby babka sprawdziła, czy jest dobrze uczesana — Franciszka w swoim niewinnym okrucieństwie podsunęła jej lusterko. Szczęśliwie zdołałem wydrzeć jej z rąk lustro, zanim babka, przed którą starannie ukryliśmy wszystkie zwierciadła, ujrzałaby przez tę nieopatrzność własny swój obraz, jakiego nie mogła się domyślać. Ale, niestety, kiedy w chwilę potem pochylałem się, aby ucałować to piękno czoło, które tak umęczono, popatrzyła na mnie ze zdziwioną, nieufną, zgorszoną miną: nie poznała mnie.

Wedle naszego lekarza był to znak, że przekrwienie mózgu wzmaga się. Trzeba było odciągnąć krew.

Cottard wahał się. Franciszka miała przez chwilę nadzieję, że się postawi bańki „rżnięte”. Szukała w mojej encyklopedii ich działania, ale nie mogła znaleźć. Gdyby zamiast „cięte” były „rżnięte”, i tak nie byłaby znalazła; mówiła „rżnięte”, ale pisała (a tym samym myślała, że się tak pisze) „żnięte”.

Cottard — ku wielkiemu rozczarowaniu Franciszki — wybrał, bez wielkiej nadziei, pijawki. Kiedy w kilka godzin później wszedłem do babki, czarne wężyki przyłączone do karku, do skroni, do uszu, wiły się w jej zakrwawionych włosach niby we włosach

Choroba

Samobójstwo

Meduzy<sup>506</sup>. Ale na bladej i spokojnej twarzy, całkowicie nieruchomej, ujrzałem szeroko otwarte, promienne i spokojne, jej piękne dawne oczy (może jeszcze bardziej nasycone inteligencją niż przed chorobą, ponieważ nie mogąc już mówić, a utrzymywana w bezruchu, oczom jedynie powierzała swoją myśl; myśl, która to zajmuje w nas olbrzymie miejsce, ofiarowując nam niepodjęte skarby, to zdaje się obrócona w nicość, po czym może się odrodzić jakby przez samoródtwo dzięki kilku kroplom krwi, które się odciągnie), oczy jej, łagodne i płynne jak oliwa, w których rozlany i płonący ogień oświecał chorej odzyskany wszechświat. Spokój jej nie był już mądrością rozpacz, lecz nadziei. Rozumiała, że się ma lepiej, chciała być rozsądna, nie ruszać się; obdarzyła mnie jedynie pięknym uśmiechem, iżbym wiedział, że się ma lepiej, i uściśnęła mi lekko rękę.

Wiedziałem, jaki wstręt ma babka do widoku pewnych zwierząt, a tym bardziej do ich dotknięcia. Wiedziałem, że jedynie przez rozsądek znosi pijawki. Toteż Franciszka doprowadziła mnie do rozpacz, powtarzając babce z owymi chichotami, jakie się miewa z dzieckiem, gdy się je chce rozbawić: „O, jak te robaki biegają po pani”. To znaczyło w dodatku traktować naszą chorą bez szacunku, tak jakby już była zdziecinniała. Ale babka, której twarz oblekła się w spokojny i stoicki hart, nie okazywała nawet, że słyszy.

Niestety, ledwie odjęto pijawki, kongestia<sup>507</sup> wróciła, i to coraz silniejsza. Zdziwiło mnie, że w tej chwili, kiedy z babką było tak źle, Franciszka znika co chwila. To dlatego, że sobie zamówiła żalobę i nie chciała dać szwaczce czekać. W życiu większości kobiet, wszystko, nawet największa zgryzota, kończy się kwestią „przymierzania”.

W kilka dni później, kiedy spałem, matka zbudziła mnie w nocy. Z tą słodką oględnością, jaką w doniosłych okolicznościach ludzie przygnieceni głęboką boleścią znajdują nawet dla drobnych przykrości drugich, rzekła:

— Przepraszam, że cię budzę.

— Nie spałem — odparłem, budząc się.

Mówiłem szczerze. Wielką zmianą, jaką nam przynosi przebudzenie, jest nie tyle to, że nas wprowadza w jasne życie świadomości, ile że w nas zetraca pamięć przyćmionego nieco światła, w którym spoczywała nasza inteligencja, niby w opalowej głębi wód. Na wpół zamglone myśli, po których żeglowaliśmy jeszcze przed chwilą, wzniecały w nas ruch zupełnie wystarczający na to, abyśmy je mogli określić mianem jawy. Ale przebudzenie spotyka się wówczas z interferencją pamięci. Wkrótce potem nazywamy owe myśli snem, bo ich już sobie nie przypominamy. I kiedy błyszczą ta lśniące gwiazda, która w chwili przebudzenia oświeca poza śpiącym cały jego sen, każe nam ona wierzyć przez kilka sekund, że to nie był sen, lecz jawa; gwiazda — spadająca co prawda — która wraz ze swoim światłem unosi kłamliwe istnienie, ale także perspektywy snu, i człowiekowi, który się budzi, pozwala jedynie powiedzieć: „Spałem”.

Sen

Głosem tak łagodnym, iż zdawało się, że boi się sprawić mi ból, matka spytała, czyby mnie nie zmęczyło zanadto, gdybym wstał. Pieszcząc mi ręce, rzekła:

— Biedne maleństwo, już tylko na tatusia i na mamusię będziesz mógł liczyć.

Weszliśmy do pokoju. Zwinęta w kłębek na łóżku inna istota niż moja babka, niby jakieś zwierzę, które by się przystroiło w jej włosy i ułożyło w jej łóżku, dyszało, jęczało, wstrząsało konwulsjami koldrę. Powieki były zamknięte; ale raczej dlatego, że się nie domykały, niż że się otwierały, ukazywały kącik źrenicy, zamglony, zaropiał, odbijający mrok organicznej wizji i wewnętrznego bólu. Wszystek ten ruch nie zwracał się już do nas; nie widziała nas już, nie znała. Ale jeżeli to już tylko jakieś zwierzę ruszało się tam, gdzie była ona, babka? Poznawało się przecież kształt jej nosa, niezharmonizowany teraz z resztą twarzy, ale mający w rogu ten sam pieprzyk; poznawało się jej rękę, odsuwającą koldrę gestem, który znaczyłby niegdyś, że jej ta koldra zawadza, a teraz nie znaczył nic.

Choroba, Śmierć

Mama prosiła mnie o przyniesienie trochy wody z octem, aby zwilżyć czoło babki. Była to jedyna rzecz, która ją chłodziła, tak przynajmniej myślała mama, widząc, jak babka próbuje rozgarnąć włosy. Ale dano mi przez drzwi znak, abym wyszedł do sieni. Wiadomość, że babka kona, rozeszła się natychmiast po domu. „Dochodzący” lokaj — sprowadza się ich w wyjątkowych okolicznościach, aby odciążyć służbę, co sprawia, że

<sup>506</sup>Meduza (mit. gr.) — jedna z trzech siostr Gorgon, miała na głowie węże zamiast włosów, a jej wzrok mógł przemienić w kamień tego, kto na nią spojrzał. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>kongestia (z łac.) — chorobliwy napływ krwi do jakiegoś organu. [przypis edytorski]

agonie mają coś odświętnego — otworzył drzwi księciu de Guermantes, który zatrzymawszy się w przedpokoju, pytał o mnie; nie mogłem mu się wymknąć.

— Przychodzę, drogi panie, zasięgnąć żalobnych nowin. Chciałbym na znak sympatii uścisnąć dłoń pańskiego ojca.

Przeprosiłem, że trudno jest odwołać ojca w tej chwili. Pan de Guermantes wpadł niby w momencie, gdy się wyjeżdża w podróż. Ale tak bardzo świadomy był grzeczności, jaką nam wyświadczał, że to poczucie przesłaniało mu wszystko inne; koniecznie chciał wejść do salonu. W ogóle książe miał zwyczaj upierać się przy całkowitym dopełnieniu formalności, jakimi zamierzył uczcić kogoś, i mało się troszczył o to, że kufry są spakowane lub trumna gotowa.

— Czyście państwo wezwali profesora Dieulafoya<sup>508</sup>? A! to wielki błąd. I gdybyście się państwo zwrócili do mnie, dla mnie byłby przyszedł, nie odmawia mi niczego, mimo że odmówił księżnej de Chartres. Widzi pan, otwarcie stawiam się przed księżniczką krwi. Zresztą, wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi — dodał książe, nie aby mnie przekonać, że moja babka staje mu się równa, ale uczuwszy może, że przeciągać rozmowę na temat swoich forów u profesora Dieulafoya oraz przewag nad księżną de Chartres, nie byłoby może w najlepszym guście.

Rada księcia zresztą nie zdziwiła mnie. Wiedziałem, że u Guermantów zawsze cytowano nazwisko profesora Dieulafoya jak nazwisko jakiejś bezkonkurencyjnej firmy, jedynie może z większym nieco szacunkiem. I stara księżna de Mortemart z domu Guermantes (trudno pojąć czemu, o ile chodzi o księżnę, zawsze prawie mówi się: „stara księżna de...” lub, przeciwnie, o ile jest młoda, mówi się z filuterną miną w stylu Watteau: „młoda księżna de...”) zalecała niemal mechanicznie, mrugając, w poważnych wypadkach: „Dieulafoy, Dieulafoy”, tak jak kiedy chodziło o lody, mówiła: „Poiré Blanche”, albo o ptifury: „Rebattet, Rebattet”. Ale nie wiedziałem, że ojciec właśnie kazał wezwać profesora Dieulafoya.

W tej chwili matka, oczekująca niecierpliwie balonów z tlenem, które miały ułatwić babce oddychanie, weszła sama do przedpokoju, gdzie nie spodziewała się zastać księcia de Guermantes. Byłbym go pragnął schować nie wiem gdzie. Ale przeświadczony, że nic nie może być ważniejsze ani nie może matce bardziej pochlebić, jak również, że nic nie jest nieodzowniejsze do podtrzymania własnej reputacji skończonego gentlemana, książe ujął mnie gwałtownie za ramię i mimo że się bronił niby przed gwałtem, powtarzając: „Proszę pana, proszę pana”, pociągnął mnie ku mamie i rzekł: „Zechce mi pan uczynić ten wielki zaszczyt i przedstawić mnie swojej szanownej matce!”, detonując lekko przy słowie *matka*. I tak dalece książe miał poczucie, iż to jest zaszczyt dla niej, że nie mógł się powstrzymać, aby się nie uśmiechnąć, mimo kondolencyjnego wyrazu twarzy. Trzeba mi było wymienić nazwisko księcia, co rozpętało natychmiast z jego strony przegięcia i szastania, mające poprzedzić pełny ceremoniał ukłonu. Książe zamierzał nawet wszcząć rozmowę, ale matka, pogrążona w boleści, szepnęła mi, żebym szedł prędko, i nie odpowiedziała nawet na frazesy pana de Guermantes. Książe, który się spodziewał, że go poproszą do salonu, i zamiast tego został sam w przedpokoju, byłby się wreszcie zabrał, gdyby nie ujrzał wchodzącego Saint-Loup, który przyjechał tego rana i przybiegł po nowiny. „A to awantura!” — wykrzyknął radośnie książe, chwytając siostrzeńca za rękaw, którego mu omal nie wyrwał, i nie troszcząc się o obecność matki wracającej przez przedpokój. Saint-Loup mimo swego szczerego zmartwienia dość był, jak sądzę, rad, że uniknie spotkania się ze mną, zważywszy jego obecne usposobienie dla mnie. Wyszedł, pociągnięty przez wuja, który, mając mu coś bardzo ważnego do powiedzenia i omal nie wybrałszy się w tym celu do Doncières, nie posiadał się z radości, że sobie może oszczędzić takiego kłopotu.

— A! gdyby mi ktoś powiedział, że wystarczy mi przejść przez dziedziniec i że cię spotkam tutaj, wziąłbym to za grubą błagę; dobry kawał, jakby powiedział twój kolega Bloch.

I oddalając się z Robertem, którego trzymał za ramię, powtarzał:

— Ha, ha, zaraz widać, że dotknąłem sznura wisielca lub czegoś w tym rodzaju: mam złodziejskie szczęście.

<sup>508</sup>Dieulafoy, Paul Georges (1839–1911) — francuski lekarz i chirurg. [przypis edytorski]

To nie znaczy, aby ksiądz de Guermantes był źle wychowany; wprost przeciwnie. Ale był z rzędu owych ludzi niezdolnych się postawić w położeniu innych, ludzi podobnych w tym do większości lekarzy i karawaniarzy, którzy, na chwilę oblókłszy żalobny wyraz twarzy i wyrzekłszy: „To są bardzo ciężkie chwile”, uściskawszy was ewentualnie i doradziwszy wam odpoczynek, w agonii lub w pogrzebie widzą już tylko mniej lub więcej zamknięte zebranie towarzyskie, gdzie z powściąganą na chwilę jowialnością szukają oczami osoby, której mogą opowiadać o swoich drobnych sprawach, prosić jej o przedstawienie ich komuś lub ofiarować jej miejsce w powozie, aby ją „wyrzucić w drogę”. Ksiądz de Guermantes, winszując sobie „nosa”, który go zaniósł tam gdzie miał szansę spotkać siostrzeńca, zdumiony był zachowaniem się matki, całkiem przecież naturalnym. Opowiadał później, że matka jest w tym samym stopniu niemą, w jakim ojciec jest uprzejmy, że ma chwile nieprzytomności, w których nie słyszy, co się do niej mówi, słowem, jego zdaniem, jest osobą trochę „niespełna”, a nawet może w ogóle jest pomyłona. Raczył wszelako, wedle tego, co mi opowiadano, złożyć to po części na karb okoliczności i oświadczył, iż matka wydała mu się bardzo „wzięta” tym wydarzeniem. Ale miał jeszcze w nogach cały zapas ukłonów i reweransów<sup>509</sup>, których nie pozwolono mu dopełnić, i tak dalece nie zdawał sobie sprawy z tego, czym jest rozpacz mamy, że w wilię pogrzebu pytał się mnie, czym nie próbował jej rozerwać.

Szwagier babki, który był zakonnikiem, a którego nie znałem, zatelegrafował do Austrii, gdzie rezydował generał jego zakonu, i dzięki wyjątkowym względom uzyskał pozwolenie, przybył tego dnia. Pograżony w smutku, czytał przy łóżku modlitwy i medytacje, nie odrywając wszelako swoich świdrujących oczu od chorej. W pewnej chwili, kiedy babka była nieprzytomna, smutek tego księdza przejął mnie bólem; popatrzyłem nań. Wydawał się zdziwiony moim współczuciem, i wówczas zdarzyło się coś osobliwego. Zakrył rękami twarz jak człowiek pograżony w bolesnej medytacji, ale ujrzałem, iż zgadując, że ja odwrócę oczy, zostawił szparkę między palcami. I w tej chwili, gdy moje spojrzenia opuszczały go, spostrzegłem jego bystre oko, korzystające z osłony rąk, aby obserwować, czy mój ból jest szczery. Zaczaił się tam niby w cieniu konfesjonatu. Ksiądz spostrzegł, że ja to widzę, i natychmiast hermetycznie zamknął uchylone okienko. Spotykałem go później i nigdy nie było między nami mowy o tej minucie. Stała cicha umowa, że ja nie zauważyłem jego spojrzenia. W księdzu, jak w psychiatrze, jest zawsze coś z sędziego śledczego. Zresztą gdzież jest przyjaciel, choćby najdroższy, w którego przeszłości — wspólnej z naszą przeszłością — nie byłoby jakiejś minuty, co do której wolimy wierzyć, że on musiał o niej zapomnieć.

Lekarz zrobił zastrzyk morfiny; aby ulżyć oddychaniu, kazał podać balony z tlenem. Matka, doktor, siostra trzymali je w rękach; skoro jeden się skończył, podawano drugi. Wyszedłem na chwilę z pokoju. Kiedym wrócił, znalazłem się jakby w obliczu cudu. Przy zgłuszonym akompaniamencie nieustannego szeptu babka zdawała się zwracać do nas długi, szczęśliwy śpiew, który — szybki i muzykalny — wypełniał pokój. Zrozumiałem natychmiast, że jest bez mała równie nieświadomy, równie mechaniczny jak rżenie przed chwilą. Może odbijał w słabej mierze ulgę sprawioną przez morfinę. Wynikał zwłaszcza — ile że powietrze w inny sposób przechodziło przez oskrzela — ze zmiany rejestru oddychania. Oswobodzony podwójnym działaniem morfiny i tlenu, oddech babki nie męczył się już, nie jęczał, ale żywy i lekki przechodził w jakąś lubą płynność. Może z oddechem — niewyczuwalnym niby oddech wiatru w trzcinie — mieszało się w tym śpiewie parę bardziej ludzkich westchnień, które, wyzwolone bliskością śmierci, każą wierzyć w cierpienie lub szczęście tych, co już nie czują. Westchnienia te, mimo iż nie zmieniały rytmu, dały melodyjniejszy akcent owej długiej frazie, która wznosiła się, szła jeszcze wyżej, potem opadała, aby się na nowo wydrzeć z oswobodzonej piersi w pogoń za tlenem. Następnie, wzbiwszy się tak wysoko, przedłużony z taką siłą, śpiew — zmieszany z szeptem błagalnej rozkoszy — ustawał chwilami całkiem, niby wyschłe źródło.

Kiedy Franciszka miała wielkie zmartwienie, odczuwała daremną potrzebę wyrażania go, ale nie posiadała tej tak prostej sztuki. Uważając babkę za zupełnie straconą, chciała nam zakomunikować własne wrażenia. Ale potrafiła jedynie powtarzać: „Aż się przewra-

<sup>509</sup>rewerans (z fr.) — głęboki ukłon; przesadnie uprzejme zachowanie. [przypis edytorski]

ca w człowieku”, tym samym tonem, jakim powtarzała, zjadłszy za wiele kapuśniaku: „Gniecie me w dołku”; co w obu przypadkach było naturalniejsze, niż się jej zdawało. Zmartwienie jej, mimo iż tak słabo wyrażone, było wielkie, zwiększone jeszcze żalem, że córka jej, zmuszona zostać w Combray (które młoda paryżanka nazywała obecnie „kombraniem” i rymowała z „draniem”), nie będzie zapewne mogła wrócić na żalobną uroczystość, którą Franciszka przeczuwała jako coś wspaniałego. Wiedząc, że nie jesteście skłonni do wylewów, z góry zaprosiła na wszelki wypadek Jupiena na wszystkie wieczory przez cały tydzień. Wiedziała, że nie będzie wolny w godzinie pogrzebu. Chciała bodaj za powrotem opowiedzieć mu wszystko.

Od kilku nocy ojciec, dziadek oraz jeden z naszych krewniaków czuwali, nie wychodząc już z domu. Ich nieustanne poświęcenie przybrało w końcu maskę obojętności, a przewlekająca się dokoła tej agonii bezczynność podsuwała im typ rozmów, które są nieodłączne od przydługiej jazdy w wagonie kolejowym. Zresztą, kuzyn ów (bratanek mojej ciotecznej babki) budził we mnie tyleż antypatii, ile posiadał u innych zasłużonego szacunku.

„Znajdowało się” go zawsze w ciężkich okolicznościach, a był taki wytrwały przy umierających, że stroskane rodziny, utrzymując, iż mimo swego krzepkiego wyglądu, głębokiego basu i brody jest człowiekiem delikatnego zdrowia, zaklinały go zawsze, za pomocą poświęconych zwyczajem omówień, aby nie przychodził na pogrzeb. Wiedziałem z góry, że mama, która w bezmiarze swojego bólu myślała o drugich, powie mu w innej formie to, co miał zwyczaj słyszeć zawsze:

— Przyrzeknij mi, że nie przyjdiesz *jutro*. Zrób to dla *niej*. Przynajmniej nie chodź *aż tam*. Ona cię prosiła, żebyś nie szedł.

Nic nie pomagało; był zawsze pierwszy „w domu”, wskutek czego dano mu w innym środowisku przydomek, któregośmy nie znali: „Zamiast kwiatów na trumnę”. I zanim się stawił „wszędzie”, zawsze „pomyślał o wszystkim”, co mu zyskiwało te słowa: „Tobie się nie dziękuję”.

— Co takiego? — spytał donośnym głosem dziadek, który był już nieco głuchy i który nie dosłyszał czegoś, co kuzyn powiedział ojcu.

— Nic — odparł kuzyn. — Mówiłem tylko, że dostałem dziś rano list z Combray, gdzie jest straszliwy czas, a tutaj zanadto przypieka.

— A przecie barometr stoi bardzo nisko — rzekł ojciec.

— Gdzie, powiadasz, jest brzydko? — spytał dziadek.

— W Combray.

— A, to mnie nie dziwi; za każdym razem, kiedy jest brzydko tutaj, jest ładnie w Combray, i na odwrót. Ale prawda: mówicie o Combray; czy pomyślał ktoś o tym, aby uprzedzić Legrandina?

— Tak, nie kłopotz się, już zrobione — rzekł kuzyn, którego policzki, ocienione zbyt silnym zarostem, uśmiechnęły się nieznacznie z zadowolenia, że o tym pomyślał.

W tej chwili ojciec zerwał się; myślałem, że zaszło coś pomyślnego lub złowrogiego. To tylko doktor Dieulafoy przybył. Ojciec wyszedł, aby go przyjąć w sąsiednim pokoju, niby aktora, który zjawił się na występ. Doktor Dieulafoy był niewątpliwie wielkim lekarzem, genialnym profesorem; ale z tymi rozmaitymi rolami, w których celował, łączył inną, w której był przez czterdzieści lat bez rywala, rolę równie oryginalną jak „rezoner”, komik lub „szlachetny ojciec”, polegającą na konstatowaniu agonii lub śmierci. Nazwisko jego dawało rękomię godności, z jaką się wywiąże z roli; kiedy służąca mówiła: „Professor Dieulafoy”, miało się wrażenie, że się jest w Komedii Francuskiej. Z godną postawą łączyła się dyskretnie smukłość ślicznej figury. Twarz, sama w sobie zbyt piękna, przegaszona była konwenansiem bolesnych okoliczności. W szlachetnym czarnym tużurku, profesor wchodził, smutny bez przesady, nie składał żadnych kondolencji, które mogłyby się wydać komedią, nie dopuszczał się najmniejszego wykroczenia przeciw taktowi. Przy łóżu chorego to on, a nie książę de Guermantes był wielkim panem. Obejrząwszy babkę, nie męcząc jej, z dyskrecją, która była kurtuazją dla ordynującego lekarza, szepnął cicho kilka słów ojcu, skłonił się z szacunkiem przed matką. Czulem, że ojciec wstrzymuje się, aby nie rzec: „Professor Dieulafoy”. Ale już profesor odwrócił głowę, nie chcąc krępować sobą, i wyszedł najwytworniej w świecie, biorąc z prostotą kopertę, którą mu wręczono. Robił wrażenie, że jej nie widzi, i my sami pytaliśmy siebie przez chwilę, czyśmy mu ją

wręczyli, z taką zwinnością prestidigitatora<sup>510</sup> schował ją, nie tracąc przez to — raczej przeciwnie — nic z powagi znakomitego konsyliariusza w długim tużurku z jedwabnymi klapami, z piękną głową pełną szlachetnego współczucia. Jego spokój i żywość wskazywały, że mimo iż czeka go jeszcze sto wizyt, nie chce robić wrażenia pośpiechu. Bo to był wcielony takt, inteligencja, dobroć. Ten znakomity człowiek już nie żyje. Inni lekarze czy profesorowie mogli mu dorównać, może prześcignąć go. Ale „*emploi*”<sup>511</sup>, w którym jego wiedza, jego osobiste warunki, jego wyborne wychowanie zapewniały mu stały sukces, nie istnieje już z braku następcy, który by mu umiał sprostać.

Mama nie spostrzegła nawet profesora Dieulafoya; wszystko, co nie było jej matką, nie istniało dla niej. Przypominam sobie (uprzedzam tutaj wypadki), że na cmentarzu, gdzie, niby nadprzyrodzona zjawą, zbliżyła się nieśmiało do grobu i zdawała się patrzeć na odlatującą istotę, już będącą daleko od niej, ojciec powiedział jej: „Stary Norpois był w domu, w kościele, na cmentarzu, opuścił bardzo ważną dla siebie komisję, powinna byś mu coś powiedzieć, to by go bardzo wzruszyło”. Ale kiedy ambasador skłonił przed nią głowę, matka zdołała jedynie pochylić ze słodyczą twarz bez śladu łez. Dwa dni przedtem — znów uprzedzam wypadki, nim wrócę do łóża chorej w momencie konania — podczas gdy czuwano nad babką, już zmarłą, Franciszka, która, nie zaprzeczając bezwzględnie istnieniu duchów, płoszyła się za najmniejszym szelestem, rzekła: „Zdaje mi się, że to starsza pani”. Ale zamiast przestraszu słowa te obudziły w mamie uczucie bezmiernej słodyczy: tak by pragnęła, żeby umarli wracali, aby mieć czasem matkę obok siebie!

Ale wróćmy do agonii.

— Czy wiesz, co nam jej siostry zatelegrafowały? — spytał dziadek kuzyna.

— Tak, Beethoven, mówiono mi; to warto oprawić w ramki. Nie dziwi mnie to zresztą.

— Biedna żona, która je tak kochała — rzekł dziadek ocierając łzę. — Nie trzeba im tego mieć za złe. To skończone wariatki, zawszem to mówił. Co się tam dzieje, nie dają już tlenu?

Matka rzekła:

— To mamie znów będzie trudno oddychać.

Lekarz odparł:

— Och, nie, działanie tlenu potrwa jeszcze dobrą chwilę; zaraz zaczniemy znowu.

Miałem wrażenie, że nie powiedziałoby się tak o umierającej; że skoro to działanie ma trwać, to znaczy, iż można utrzymać ją przy życiu. Świsł tlenu ustał na parę chwil. Ale szczęśliwa skarga oddechu wzbijała się wciąż, lekka, zawila, niedokończona, nieustanna, powrotna. Chwilami zdawało się, że wszystko skończone; oddech wstrzymał się, czy to przez te same zmiany oktaw, jakie zachodzą w oddechu śpiącego, czy przez naturalne wahanie, pod wpływem znieczulenia, wzmożonej duszności, niedomogi serca. Lekarz ujął puls babki, ale już — jak gdyby jakiś dopływ zasilił wysychający strumień — nowy śpiew zlał się z przerwana frazą. I ta rozpoczynała się w innej tonacji, z tą samą niewyczerpaną energią. Kto wie, czy — bodaj bez świadomości babki — owe szczęsne i tkliwe stany, zduszone cierpieniem, nie wydzielają się z niej teraz niby lekki gaz, długo zdławiony w zamknięciu. Można by rzec, że wszystko, co ona ma nam do powiedzenia, dobywa się z niej, że to do nas się zwraca z tą wymową, z tą żarliwością, z tym wylaniem<sup>512</sup>.

U stóp łóżka, skręcana konwulsyjnie każdym podmuchem tej agonii, nie płacząc, ale chwilami zalana łzami, matka miała bezduszną rozpacz liści smaganych deszczem i miotanych wiatrem. Kazano mi otrzeć oczy, zanim się zbliżę, aby ucisnąć babkę.

— Ależ ja myślałem, że ona już nie widzi — rzekł ojciec.

— Nie można nigdy wiedzieć — odparł lekarz.

Kiedy moje wargi dotknęły jej, ręce babki poruszyły się; przebiegł ją całą długi dreszcz, czy to odruchowy, czy że pewne przywiązania mają swoje przeczulenie, poznające poprzez zasłonę nieświadomości to, do czego kochania prawie nie trzeba im zmysłów. Naraz babka podniosła się nieco, uczyniła gwałtowny ruch, jak ktoś, kto broni własnego życia. Franciszka nie mogła znieść tego widoku, wybuchnęła płaczem. Przypominając sobie to,

Rozpacz

Śmierć

<sup>510</sup>*prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

<sup>511</sup>*emploi* (fr.) — zawodowa specjalność aktora, odpowiadająca jego predyspozycjom. [przypis edytorski]

<sup>512</sup>*wylanie* (przeżarz.) — wylewność, żywiołowa szczerość, serdeczność. [przypis edytorski]



co powiedział lekarz, chciałem ją usunąć z pokoju. W tej chwili babka otwarła oczy. Rzuciłem się ku Franciszce, aby zasłonić jej łzy, podczas gdy rodzice będą mówili do chorej. Świsł tlenu zamilkł, lekarz odszedł od łóżka. Babka nie żyła.

W kilka godzin później Franciszka mogła ostatni raz i bez obawy bólu uczesać te piękne włosy, które ledwie zaczynały siwieć i które dotąd zdawały się młodsze od babki. Ale teraz, przeciwnie, one jedne nakładały wieniec starości twarzy, która znów stała się młoda, z której znikły zmarszczki, skurcze, nalania, fałdy, mnożone od tylu lat przez cierpienie. I tak jak niegdyś, dawno, wówczas gdy rodzice wybrali jej męża, znów miała rysy delikatnie wyrzeźbione czystością i poddaniem, policzki lśniące zbożną nadzieją, marzeniem o szczęściu, nawet niewinną wesołością, wszystkim, co stopniowo zniweczyły lata. Odchodząc, życie uniosło z sobą zawody życia. Zdawało się, że uśmiech zstąpił na wargi babki. Na tym żałobnym łożu, śmierć, niby średniowieczny rzeźbiarz, ułożyła ją w postaci młodej dziewczyny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Wizyta Albertyny. Widoki bogatego małżeństwa paru przyjaciół Roberta de Saint-Loup. „Duch Guermantów” wobec księżnej Parmy. Dziwna wizyta u pana de Charlus. Coraz to mniej rozumiem jego charakter. Czerwone pantofelki księżnej.*

Mimo iż była to po prostu jesienna niedziela, czułem się odrodzony, życie rozciągało się przede mną nietknięte, bo rano, po szeregu ciepłych dni, panowała zimna mgła, która podniosła się dopiero koło południa. Otóż odmiana pogody wystarcza, aby odrodzić świat i nas samych. Niegdyś, kiedy wiatr świstał w kominku, słuchałem uderzeń, które wstrząsały zasuwą, z takim wzruszeniem, jak gdyby, podobne słynnym pociągnięciom smyczka, którymi się zaczyna *Symfonia c-moll*<sup>513</sup>, były one nieubłaganym wołaniem tajemniczego losu. Wszelka widoczna zmiana w przyrodzie staje się dla nas podobnym przeobrażeniem, zestrzajając nasze zharmonizowane pragnienia z nowym porządkiem rzeczy. Od samego rana mgła robiła ze mnie w tym odmiennym świecie — w miejsce odśrodkowej istoty, jaką jesteśmy w piękny czas — człowieka zwiniętego w sobie, łączącego kącika przy ogniu i podzielonego z kimś łożka, zmarzniętego Adama w poszukiwaniu jakiejś domatorki Ewy.

Między szarym i łagodnym kolorem rannych pól a smakiem filizanki czekolady zawarłem całą odrębność fizycznego, intelektualnego i duchowego życia, jaką zawiozłem blisko rok przedtem do Doncières. Odrębność ta, naznaczona, niby herbem, podłużnym kształtem lysego pagórka — wciąż obecnego, nawet kiedy był niewidzialny — tworzyła we mnie serię uciech całkowicie różną od wszystkich innych, niemożliwych do opowiedzenia przyjaciołom, w tym sensie, że bogato tkane i spletające się wrażenia, które je instrumentowały, wyrażały je dla mnie i bez mojej wiedzy o wiele lepiej niż fakty, które bym mógł opowiedzieć. Z tego punktu widzenia nowy świat, w którym mnie pogrążyła mgła tego ranka, był światem już mi znanym (co mu jedynie przydawało prawdy) i zapomnianym od jakiegoś czasu (co mu wracało całą jego świeżość). I mogłem się przyglądać kilku szkicom mgły, które pamięć moja nabyła — *Porankom w Doncières* — czy to pierwszego dnia w koszarach, czy innym razem w sąsiednim zamku, dokąd Saint-Loup zabrał mnie z sobą na dwadzieścia cztery godziny. Z okna, którego firanki uchylilem o świcie, zanim się położyłem znowu, w pierwszym szkicu żołnierz na koniu, w drugim (na wąskiej granicy stawu i lasu, których cała reszta tonęła w jednostajnej i płynnej słodczy mgły) stangret czyszczący rzemienie zjawili mi się jako nieliczne postacie ludzkie — ledwie rozpoznawalne dla oka, zmuszonego dostroić się do tajemniczej mglistości półmroku — wyłaniające się z zatartego fresku.

Patrzyłem dziś na te wspomnienia z łożka, bo położyłem się z powrotem, aby doczekać chwili, kiedy, korzystając z nieobecności rodziców bawiących przez kilka dni w Combray, wybiorę się wieczorem na komedijkę graną u pani de Villeparisis. Po powrocie rodzi-

<sup>513</sup>*Symfonia c-moll* — V symfonia c-moll op. 67 Ludwiga van Beethovena, jeden najsłynniejszych i najczęściej wykonywanych utworów muzyki poważnej; rozpoczyna ją charakterystyczny, czteronutowy motyw, który niekiedy traktuje się jako mający znaczenie symboliczne, gdyż wg sekretarza Beethovena kompozytor skomentował początek dzieła słowami: „Tak oto los puka do drzwi!”. [przypis edytorski]

ców nie śmiałbym może tego uczynić. Matka przez pietyzm dla pamięci babki pragnęła, aby oznaki żalu po niej były dobrowolne i szczerze; nie zabroniłaby mi też tej wizyty, ale zgałaby ją. Przeciwnie z Combray, gdybym się jej poradził, nie odpowiedziałaby mi smutnym: „Rób, jak chcesz, jesteś dosyć duży, aby wiedzieć, co powinien robić”, ale wyrzucając sobie, że mnie zostawiła samego w Paryżu, i sądząc moją zgryzotę miarą swojej, pragnęłaby dla mnie rozrywek, których wzbronilaby sobie samej, a które (tak mama myślała) babka, dbająca przede wszystkim o moje zdrowie i o moją nerwową równowagę, byłaby mi doradziła.

Od rana zapalono w nowym kaloryferze. Jego nieprzyjemny dźwięk, przechodzący od czasu do czasu w rodzaj czkawki, nie miał żadnego związku ze wspomnieniami moimi z Doncières. Ale jego przydługa styczność we mnie z tymi wspomnieniami owego popołudnia miała mu stworzyć takie z nimi powinowactwo, że za każdym razem, kiedy, odzwyczajony trochę od tego dźwięku, usłyszałbym na nowo centralne ogrzewanie, przypominałoby mi ono Doncières.

Była w domu tylko Franciszka. Szary dzień, padający niby drobny deszcz, snuł bez przerwy przezroczyste siatki, w których niedzielni przechodnie jak gdyby się srebrzyli. Rzuciłem na ziemię „Figaro”<sup>514</sup>, kazałem je co dzień sumiennie kupować od czasu, jak tam posłałem artykuł, który się nie ukazał. Mimo nieobecności słońca nasilenie dnia wskazywało mi, że jesteśmy dopiero w pełni popołudnia. Tiulowe firanki przy oknach, mgliste i kruche (nie byłyby takie w pogodę), miały to samo połączenie czegoś miękkiego i lamliwego, co skrzydła ważek i szkła weneckie.

Ciężyło mi być samemu w tę niedzielę, tym bardziej że tego rana kazałem zanieść list do panny de Stermaria. Saint-Loup, którego matka doprowadziła — po bolesnych i daremnych próbach — do zerwania z kochanką i którego od tego czasu posłano do Maroka, aby zapomniał o tej, której już nie kochał, napisał do mnie słówko (odebrałem je w wilię), gdzie mi oznajmiał swoje przybycie do Francji na bardzo krótki urlop. Ponieważ miał tylko zawadzić o Paryż (rodzina bała się zapewne, aby nie wrócił do Racheli), uprzedził mnie — na dowód, że myślał o mnie — iż spotkał w Tangerze pannę, lub raczej panią de Stermaria, bo rozwiódła się po trzech miesiącach małżeństwa. I Saint-Loup, przypominając sobie to, com mu mówił w Balbec, poprosił w moim imieniu tej młodej kobiety o spotkanie. Odrzekła, iż chętnie zjadłaby ze mną obiad jednego z dni, które spędzi w Paryżu, zanim się uda do Bretanii. Saint-Loup pisał, abym się czym prędzej porozumiał z panią de Stermaria, bo z pewnością już przyjechała.

List Roberta nie zdziwił mnie, mimo że nie miałem wiadomości od niego od czasu, gdy w chwili choroby babki obwinił mnie o przewrotność i zdradę. Zrozumiałem wybornie wówczas, co zaszło. Racheli, która lubiła podsycać jego zazdrość — miała też uboczne żale do mnie — wmówiła w Roberta, że ja robiłem zamachy na nią w czasie jego nieobecności. Bardzo być może, że on wciąż w to wierzył; ale przestał kochać Rachelę, tak iż prawda lub fałsz w tym względzie stały mu się całkiem obojętne i jedynie przyjaźń nasza przetrwała. Kiedy raz, widząc go, próbowałem wspomnieć o jego wymówkach, odpowiedział jedynie poczciwym i serdecznym uśmiechem, jak gdyby chciał się nim usprawiedliwić; po czym odmienił rozmowę.

Nie znaczy to, aby nieco później w Paryżu nie miał jeszcze czasami spotykać Racheli. Istoty, które grały taką rolę w naszym życiu, rzadko wychodzą z niego nagle i ostatecznie. Zjawiają się w nim znowuż chwilami (tak iż niektórzy podejrzewają nawrót miłości), nim je opuszczą na zawsze.

Zerwanie Roberta z Rachelą stało mu się rychło mniej bolesne dzięki kojącej przyjemności, jaką dawały mu jej nieustanne żądania pieniędzy. Zazdrość, będąca przedłużeniem miłości, nie może zawierać o wiele więcej niż inne formy naszej wyobraźni. Jeżeli, puszczając się w podróż, weźmiemy z sobą trzy lub cztery obrazy, które zgubimy zresztą w drodze (lilie i anemony z Ponte Vecchio, perski kościół we mgle itd.), walizka jest już całkiem pełna. Kiedy się rzuca kochankę, chciałoby się — aż do chwili, gdy się o niej po trosze zapomni — aby się ona nie stała lupem trzech lub czterech nabywców, których sobie wyobrażamy, to znaczy, o których jesteśmy zazdrośni; wszyscy, których sobie nie wyobrażamy, są niczym. Zapewne, częste żądania pieniędzy ze strony porzuconej kochan-

Miłość, Rozstanie

<sup>514</sup> „Figaro” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]

ki nie dają nam kompletnego pojęcia o jej życiu, tak jak wykresy gorączki nie dałyby nam pojęcia o jej chorobie. Ale jak te wykresy byłyby bądź co bądź znakiem, że jest chora, tak owe żądania stanowią dowód (dość mglisty, co prawda), że ta, którąśmy rzucili lub która nas rzuciła, nie musiała znaleźć bogatego protektora. Toteż każdą jej prośbę przyjmujemy z radością, jaką nam daje pauza w cierpieniach zazdrości; skwapliwie posyłamy jej pieniądze, bo chcielibyśmy, aby jej nie brakło niczego prócz kochanków (jednego z owych trzech, których sobie wyobrażamy) przez czas potrzebny na to, abyśmy przyszli nieco do siebie i abyśmy mogli bez bólu usłyszeć nazwisko naszego następcy.

Czasem Rachela zjawiała się dość późno wieczorem, aby prosić dawnego kochanka o pozwolenie przespania się obok niego do rana. Było to bardzo słodkie dla Roberta, bo zdawał sobie sprawę, jak bardzo jednak oni blisko żyli z sobą. Czuł to bodaj w tym, że nawet gdy zajął sam większą część łóżka, nie przeszkadzał jej bynajmniej spać. Rozumiał, że jej jest obok jego ciała wygodniej niż gdziekolwiek indziej; że się czuje przy jego boku — nawet w hotelu — niby w znanym od dawna pokoju, do którego się przywykło, gdzie nam się lepiej śpi. Czuł, że jego ramiona, nogi, on cały, to są dla niej — nawet kiedy się zanadto ruszał pod wpływem bezsenności lub natrętnych myśli — rzeczy tak doskonale podręczne, że nie mogą jej zawadzać i że ich poczucie zwiększa jej jeszcze wrażenie odpoczynku.

Ale trzeba się nam cofnąć wstecz. List Roberta wzruszył mnie tym bardziej, że między wierszami czytałem to, czego on nie śmiał napisać wyraźniej. „Możesz ją doskonale zaprosić do gabinetu — pisał. — To urocza młoda osoba, przemiły charakter; porozumiecie się doskonale; z góry jestem pewien, że spędzisz wyborny wieczór”. Ponieważ rodzice wracali z końcem tygodnia, w sobotę lub w niedzielę, po czym musiałbym jadać co dzień w domu, natychmiast napisałem do pani de Stermaria, proponując jej dowolny dzień, do jej wyboru, aż do piątku. Kazała powiedzieć, że napisze do mnie jeszcze tego wieczora koło ósmej. Byłbym doczekał wieczora dość szybko, gdybym miał w ciągu dzielącego mnie od niego popołudnia ratunek jakiejś wizyty. Kiedy godziny spowijają się gawędą, nie możemy ich już mierzyć, nawet widzieć; znikają; i nagle — bardzo daleko od punktu, w którym się nam umknął — znów zjawia się naszej uwadze chyży i oszukany czas. Ale kiedy jesteśmy sami, napięcie myśli, przywodząc nam odległą jeszcze i wciąż oczekiwaną chwilę z częstością i jednostajnością tykania zegara, dzieli, lub raczej mnoży godziny przez wszystkie minuty, których nie liczylibyśmy w towarzystwie przyjaciół. I popołudnie to, w nieustannym nawrocie mojego pragnienia konfrontowane z palącą rozkoszą, jakiej miałem kosztować — niestety dopiero za kilka dni! — z panią de Stermaria; to popołudnie, którego miałem dokończyć sam, wydawało mi się bardzo puste i melancholijne.

Chwilami słyszałem łoskot jadącej w górę windy, ale po nim następował drugi odgłos, nie ten, któremu się spodziewałem, zwiastujący zatrzymanie się na moim piętrze, ale inny, bardzo odmienny, jaki sprawiała winda wznosząc się wyżej. Odgłos ten — ponieważ tak często oznaczał mijanie mojego piętra, kiedy oczekiwałem wizyty — został dla mnie później, nawet wówczas gdy już nie pragnął w ogóle żadnej wizyty, hałasem w samej swojej istocie bolesnym, w którym rozlegał się jakby wyrok opuszczenia. Zmęczony, zrezygnowany, zajęty na kilka godzin jeszcze swoim odwiecznym zadaniem, szary dzień prządl swój perłowy haft; myślałem ze smutkiem, że zostanę sam na sam z tym dniem, który mnie nie znał, tak samo jak robotnica, która siedząc przy oknie, aby lepiej widzieć przy swojej robocie, nie zajmuje się wcale osobą obecną w pokoju.

Naraz (nie słyszałem dzwonka) Franciszka otworzyła drzwi i wprowadziła — Albertynę. Weszła uśmiechnięta, milcząca, pulchna, zawierająca w obfitości swego ciała — przygotowane na to, abym je przeżywał nadal, przybywające do mnie — dni spędzone w owym Balbec, dokąd nigdy nie wróciłem.

Bez wątpienia, za każdym razem kiedy oglądamy osobę, z którą stosunki — choćby najpowierzchniwsze — zmieniły się, staje się to dla nas niby konfrontacją dwóch epok. Nie potrzeba na to, aby dawna kochanka zaszła nas odwiedzić jako przyjaciółka; wystarczy, aby się zjawiał w Paryżu ktoś, z kim dzieliliśmy jakieś przygodne i potoczne życie, i aby to życie ustało, choćby od tygodnia. W każdym roześmianym, pytającym i zakłopotanym rysie Albertyny mogłem wyczytać te pytania: „A pani de Villeparisis? A nauczyciel tańca? A cukiernik?” Kiedy usiadła, grzbiet jej robił wrażenie, że mówi: „Cóż, nie ma tutaj skał i morza, ale pozwolisz, abym usiadła koło ciebie, tak jakbym to

zrobiła w Balbec?” Albertyna była niby wróżka podsuwająca mi zwierciadło czasu. Była w tym podobna do wszystkich osób, które widzimy rzadko, ale które niegdyś żyły z nami bliżej. Ale z Albertyną było nie tylko to. Zapewne, nawet w Balbec, w czasie naszych codziennych spotkań, zawsze byłem zaskoczony jej widokiem, tak zmieniała się zależnie od dnia. Ale teraz ledwie ją można było poznać. Rysy jej, wyłonięne z różowego oparu, który je spowijał, stały się wydatne na kształt posągu. Miała inną twarz, lub raczej wreszcie miała twarz; ciało jej urosło. Nie zostało już prawie nic z powłoki, która ją spowijała i na której powierzchni w Balbec przyszyły jej kształt zaledwie się rysował.

Tym razem Albertyna wróciła do Paryża wcześniej niż zazwyczaj. Zwykle wracała dopiero na wiosnę, tak iż, niepokojony już od kilku tygodni burzami przy pierwszych kwiatach, w przyjemności, jakiej doznawałem, nie oddzielałem powrotu Albertyny od powrotu cieplejszych dni. Wystarczyło, by mi powiedziano, że Albertyna jest w Paryżu i że zaszła do mnie, abym ją ujrzał niby różę nad brzegiem morza. Nie bardzo wiem, czy to, co mnie ogarniało wówczas, było pragnieniem Balbec czy jej; może samo pragnienie Albertyny było luźną i niepełną formą posiadania Balbec, jak gdyby posiadać materialnie jakąś rzecz, zamieszkać w jakimś mieście równało się jego duchowemu posiadaniu. Zresztą nawet materialnie, kiedy Albertyny nie kołysała już moja wyobraźnia na tle widnokreśgu morza, ale kiedy siedziała nieruchomo koło mnie, wydawała mi się często bardzo biedną różą, przy której byłbym rad zamknąć oczy, aby nie widzieć jakiejś skazy jej płatków i aby wierzyć, że oddycham powietrzem plaży.

Mogę to powiedzieć tutaj, mimo że nie wiedziałem wówczas tego, co miało się zdarzyć później. Zapewne, rozsądniej jest poświęcić życie kobietom niż markom<sup>515</sup> pocztowym, starym tabakierkom, nawet niż obrazom i posągom. Ale przykład innych kolekcji powinien by nas skłonić do tego, aby zmieniać; aby mieć nie jedną kobietę, lecz wiele kobiet. Urocze kombinacje, jakie stwarza młoda dziewczyna z plażą, z zaplecionymi włosami posągu w kościele, z jakimś sztychem, ze wszystkim tym, co sprawia, że kochamy w tej dziewczynie — za każdym razem kiedy wchodzi — jakiś uroczy obraz, kombinacje te nie są zbyt stałe. Wystarczy żyć całkowicie z kobietą, aby przestać widzieć cokolwiek z tego, co nam ją kazało pokochać. Te dwa rozszczerzone składniki może niewątpliwie zespolić na nowo zazdrość. Jeżeli po długim okresie wspólnego życia miałem widzieć w końcu w Albertynie jedynie zwykłą kobietę, jakaś jej miłostka ze znajomym jej z Balbec wystarczyłaby może, aby w nią znów wcielić i stopić z nią plażę i bryzg fal. Ale te wtórne połączenia nie czarują już naszych oczu; w zamian stają się wyczuwalne i złowrogie dla naszego serca. Odnowienie się cudu w tak niebezpiecznej formie nie może być pożądane!

Ale uprzedzam lata. I muszę jedynie tu żałować, że nie pozostał na tyle rozsądny, aby mieć po prostu w życiu swoją kolekcję kobiet, jak się ma kolekcję dawnych lornetek<sup>516</sup>, nigdy dość licznych za gablotką, gdzie zawsze puste miejsce oczekuje jakiejś nowej i rzadszej lornetki.

Na wspaniałych porządkach swoich wilegiatur, tego roku Albertyna przybywała prosto z Balbec; a i tak bawiła tam o wiele krócej niż zwykle. Nie widziałem jej od dawna. Że zaś nie znałem — nawet z nazwiska — osób, z którymi przestawała w Paryżu, nie wiedziałem nic o niej w okresach, kiedy mnie nie odwiedzała. Okresy te bywały czasem dość długie. Potem pewnego pięknego dnia wyłaniała się nagle Albertyna, której różowe zjawienie się i milczące wizyty dość skąpo mnie informowały o tym, co mogła robić w przerwach, pogrążonych w owym mroku życia, którego oczy moje nie siły się przebić.

Tym razem pewne oznaki zdawały się wskazywać, że musiały zajść w jej życiu jakieś nowe rzeczy. Ale może po prostu nastęrczały one wnioski, że w wieku Albertyny człowiek zmienia się bardzo szybko. Na przykład inteligencja jej objawiała się wyraźniej; skorom jej przypomniał dzień, gdy włożyła tyle zapалу w dowodzenie, że Sofokles<sup>517</sup> powinien był pisać: „Mój drogi Racine”, pierwsza roześmiała się serdecznie. „To Anna miała rację, bylam idiotka — rzekła. — Oczywiście Sofokles powinien był napisać: »Panie!«” Odpowiedziałem, że „panie” i „drogi panie” Anny były nie mniej komiczne niż jej „drogi Racine” i niż „drogi przyjacielu” Gizeli, ale że naprawdę niemądrzy byli w tym profesorowie, każący jeszcze Sofoklesowi pisywać listy do Racine’a. Tego już Albertyna nie

<sup>515</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>516</sup>lornetka (daw.) — lornetka. [przypis edytorski]

<sup>517</sup>Sofokles (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

chwyciła. Nie rozumiała absolutnie, co w tym jest głupiego; inteligencja jej rozchyłała się, ale nie była rozwinięta. Były w niej nowości bardziej pociągające; czułem w tej samej ładnej dziewczynie, która oto usiadła koło mego łóżka, coś odmiennego; w owych liniach, które w spojrzeniu i rysach twarzy zwykły wyrażać wolę, czułem jakąś zmianę frontu, niemal ustępliwość, jak gdyby znikły już opory, o które łamałem się w Balbec pewnego tak odległego już wieczora, kiedyśmy tworzyli parę symetryczną do dzisiejszej, ale odwrotną, gdyż wówczas Albertyna leżała w łóżku, a ja siedziałem przy niej. Pragnąc i nie śmiejąc sprawdzić, czy teraz pozwoliłaby się pocałować, ilekroć Albertyna wstawała, aby iść, prosiłem, żeby została jeszcze. Nie było to zbyt łatwe do uzyskania, bo mimo iż Albertyna nie miała nic do roboty (inaczej byłaby uciekła), była to osóbką punktualna i zresztą niezbyt czuła dla mnie, niezbyt zdająca się smakować w moim towarzystwie. Mimo to za każdym razem, spojrzawszy na zegarek, siadała na moją prośbę z powrotem, tak iż spędziła ze mną kilka godzin bez żadnych zakusów z mojej strony; słowa moje wiązały się z tym, com mówił w ciągu poprzednich godzin, i nie spotykały się nigdy z tym, com myślał, czegom pragnął — niby równoległe linie idące w nieskończoność. Nic bardziej od pragnienia nie przeszkadza, aby rzeczy, które mówimy, były w czymkolwiek podobne do tego, co mamy w myśli. Czas nagli, a mimo to zdawałoby się, że chcemy zyskać na czasie, mówiąc o przedmiotach zgoła obcych temu, co nas zaprzęta. Ot, gawędzi się, podczas gdy zdaniu, które chcielibyśmy wyrzec, towarzyszyłby już gest — nawet przyjąwszy, że aby sobie stworzyć rozkosz bezpośredniości i aby nasycić ciekawość reakcji, jaką to wywoła bez jednego słowa, bez prośbienia o pozwolenie, nie uczyniliśmy tego gestu. Z pewnością nie kochałem wcale Albertyny; zrodzona z dzisiejszej mgły, mogła ona jedynie zaspokoić imaginacyjne pragnienie zbudzone we mnie zmianą pogody, będące czymś przejściowym między pragnieniami, jakie może zaspokoić z jednej strony sztuka kucharska, a z drugiej monumentalna rzeźba, kazało mi bowiem marzyć równocześnie o złączeniu z moim ciałem substancji odmiennej i cieplej i o spojeniu jakimś punktem odrębnego ciała z moim wyciągniętym ciałem: tak ciało Ewy zaledwie nogami trzyma się biodra Adama, do którego ciała jest ona niemal prostopadła na owych romańskich płaskorzeźbach katedry w Balbec, szlachetnie i spokojnie, niemal jak antyczny fryz, przedstawiających stworzenie kobiety; Bogu towarzyszą tam wszędzie, niby dwaj ministrowie, dwa aniołki, w których poznajemy na całej fasadzie kruchty — niby skrzydlate i wirujące twory lata, zaskoczone i oszczędzone przez zimę — amorki z Herkulanum<sup>518</sup>, jeszcze żywe w pełni XIII wieku i lecące swoim ostatnim lotem, zmęczone, ale nie zadające kłamu wdziękowi, jakiego się można po nich spodziewać.

Słowo

Tej przyjemności, która zaspokajając moją żądzę, uwolniłaby mnie od tego marzenia, szukałbym równie chętnie u jakiej bądź innej ładnej kobiety. I gdyby — w ciągu tej nieskończonej paplaniny, w której tailem przed Albertyną to jedno, o czym myślałem — mnie zapytano, na czym się wspiera moja optymistyczna hipoteza jej możliwej ustępliwości, odpowiedziałbym może, że ta hipoteza zrodziła się (podczas gdy zapomniane rysy głosu Albertyny kreśliły mi na nowo kontur jej osobowości) z pojawienia się pewnych słów nienależących do jej słownika, przynajmniej w sensie takim, jaki im dawała obecnie. Kiedy powiedziała, że Elstir jest głupi, a ja zaprotestowałem żywo, odrzekła z uśmiechem:

— Nie rozumiesz mnie; ja chcę powiedzieć, że się okazał głupi w danej okoliczności, ale wiem doskonale, że to jest człowiek zupełnie niepospolity.

Tak samo, chcąc powiedzieć o golfie w Fontainebleau<sup>519</sup>, że jest elegancki, oświadczyła:

— Pierwszorzędny dobór.

Mówiąc o jakimś dawniejszym pojedynku, powiedziała o moich świadkach: „To są sekundanci zupełnie *prima*”; przyglądając mi się, oświadczyła, że byłoby mi do twarzy z małym wąsikiem. Posunęła się nawet — i moje szanse wydały mi się w tej chwili ogromne — do powiedzenia, że od czasu jak nie widziała Gizeli, upłynęło „iks czasu”. (Przysiągłbym, że w zeszyłym roku nie znała tego zwrotu). Nie znaczy to, aby już za mojej bytności w Balbec Albertyna nie posiadała pokaźnego zasobu wyrażań, które świadczą natychmiast, że się pochodzi z dostatniej rodziny, i które z roku na rok matka przekazuje

<sup>518</sup>*Herkulanum* — jedno z miast rzymskich pogrzebanych pod popiołem podczas wybuchu Wezuwiusza w r. 79 n.e. [przypis edytorski]

<sup>519</sup>*Fontainebleau* — miejscowość ok. 60 km na pld-wsch. od Paryża, znana z rezydencji królów Francji: reprezentacyjnego pałacu z rozległym ogrodem i parkiem. [przypis edytorski]

córce, tak jak jej daje, w miarę jak córka rośnie, w uroczystych momentach własne klejnoty. Zrozumiano, że Albertyna przestała być małym dzieckiem, kiedy pewnego dnia, dziękując obcej pani za jakiś prezent, powiedziała: „Pani mnie zawstydza”. Pani Bontemps mimo woli spojrziała na męża, który odparł:

— Ha, cóż, idzie jej na czternasty rok!

Wyraźniejsza jeszcze dojrzałość ujawniła się, kiedy Albertyna, mówiąc o młodej pannie nieco wątpliwych manier, rzekła:

— Trudno nawet poznać, czy ona jest ładna, ma na *cal rôzu* na policzkach.

Wreszcie, mimo iż będąc młodą panną, już przybierała wzięcie kobiet swego świata i swojej klasy, powiadając na przykład, kiedy ktoś robił miny: „Nie mogę patrzeć na nią, bo i ja mam ochotę robić miny”, lub też, jeśli ktoś bawił towarzystwo imitacjami: „Najzabawniejsze jest, że kiedy ją udaje, robi się do niej podobny”. Wszystko to jest zaczerpnięte ze skarbcza towarzyskości. Ale właśnie sfera Albertyny nie mogła — wedle mego wyczucia — dostarczyć jej owego „niepospolity”, w sensie, w jakim ojciec mój mówił o którymś z nieznanym mu jeszcze kolegów, którego inteligencję mu chwalono: „Zdaje się, że to ktoś zupełnie niepospolity”. „Dobór”, nawet dla golfa, wydał mi się równie nieharmonizujący z rodziną Simonet, jak w towarzystwie przymiotnika „naturalny” nie harmonizowałby z tekstem poprzedzającym o kilka wieków prace Darwina<sup>520</sup>. „Iks czasu” wydało mi się jeszcze lepszą wróżbą. Wreszcie, oczywistość przewrotów, nieznanym mi jeszcze, ale zdolnym uprawnić we mnie wszystkie nadzieje, ujawniła mi się niezbitcie, kiedy Albertyna oświadczyła mi z zadowoleniem osoby, której sąd nie jest czymś obojętnym:

— *Wedle mego przeświadczenia* nie mogło się zdarzyć nic lepszego... Mniemam, że to jest najlepsze rozwiązanie, rozwiązanie eleganckie.

To było tak nowe, było tak widocznie napływem pozwalającym przypuszczać kapryśne wędrowki przez tereny niegdyś jej nieznanne, że przy słowach „wedle mego przeświadczenia” objąłem Albertynę, a przy „mniemam” posadziłem ją na łóżku.

Bez wątpienia zdarza się, że kobiety bez kultury, zaślubiając człowieka niezwykle wykształconego, otrzymują od męża jako wiano takie wyrażenia. I wkrótce po metamorfizie sprowadzonej przez noc poślubną, kiedy składając wizyty, zachowują pewien dystans wobec dawnych przyjaciółek, widzimy ze zdziwieniem, że stały się kobietami, kiedy, oceniając zalety czyjegoś intelektu, dają dwa „I” przy słowie „intelekt”; ale to jest właśnie cecha odmiany. W słowniku Albertyny, którą znałem niegdyś, największą śmiałością było powiedzieć o osobie nieco ekscentrycznej: „To jest typ!”; lub kiedy proponowano Albertynie grę: „Nie znajduję pieniędzy na ulicy”, lub wreszcie, kiedy przyjaciółka robiła jej wymówkę, jej zdaniem niezasłużoną: „Doprawdy, ty jesteś kapitalna!” — zwrot podyktowany w takich okolicznościach rodzajem mieszczańskiej tradycji, niemal równie starej jak sam *Magnificat*<sup>521</sup>, zwrot z gatunku tych, których młoda dziewczyna, nieco poirytowana, używa, jak się to mówi, „całkiem naturalnie”, to znaczy, dlatego że się ich nauczyła od matki, jak się nauczyła mówić pacierz i kłaniać się. Wszystkie te wyrażenia pani Bontemps wszczepiła jej równocześnie z nienawiścią do Żydów i z szacunkiem dla czarnego koloru, który jest „zawsze na miejscu i zawsze dystygowany”; to znaczy, nawet nie wyuczyła jej ich formalnie, ale tak jak szczygłe pisklęta wzorują się na szczebiocie szczygłów-rodziców, aż same wyrosną w prawdziwe szczygły. Mimo wszystko „dobór” wydał mi się nabytkiem z obcego plemienia, a „mniemam” pełne zachęty. Albertyna nie była już ta sama, zatem nie postąpiłaby może tak samo, nie reagowałaby tak samo.

Nie tylko jej już nie kochałem, ale nawet nie potrzebowałem się obawiać, jak w Balbec, że zniweczę w niej przyjaźń dla mnie — przyjaźń, która od dawna nie istniała. Nie było wątpliwości, że się jej stał od dawna obojętny. Zdawałem sobie sprawę, że nie stanowią już dla Albertyny części „bandy”, do której niegdyś tak pragnąłem należeć, tak szczęśliwy później, że się w niej znalazł. Przy tym, ponieważ Albertyna nie miała już nawet, jak w Balbec, wyrazu szczerości i dobroci, nie czułem zbyt wielu skrępułów; mimo to sądzę, że w rezultacie zdecydowało mnie ostatnie odkrycie filologiczne. Jakby wciąż

<sup>520</sup> Darwin, Charles (1809–1882) — brytyjski przyrodnik, twórca teorii ewolucji. [przypis edytorski]

<sup>521</sup> *Magnificat* — z łac. *Magnificat anima mea Dominum* (Wielbi dusza moja Pana), łacińska wersja pieśni dziękczynnej Marii z *Ewangelii wg Łukasza*, jednego z najstarszych hymnów chrześcijańskich. [przypis edytorski]

przydając jakieś nowe ogniwo do powierzchownego pasma rozmów, pod którymi kryłem swoje sekretne pragnienie, mówiłem, obejmując równocześnie Albertynę siedzącą na łóżku, o jednej z dziewcząt z „bandy”, drobniejszej od innych, ale wcale ładnej. „Tak — odparła Albertyna — robi wrażenie małej gejszy<sup>522</sup>”. Z wszelką pewnością, kiedy poznał Albertynę, słowo „gejsza” było jej obce. Można przypuszczać, że gdyby rzeczy poszły normalnym torem, nigdy by go nie poznała; co do mnie, nie widziałbym w tym nieszczęścia, bo nie ma dla mnie słowa bardziej uprzykrzonego. Słyszając je, czuję ten sam ból zębów, co kiedy się włoży do ust za wielki kawałek lodu. Ale Albertyna była tak ładna, że nawet „gejsza” nie raziła mnie u niej zbytnio. W zamian słowo to wydało mi się oznaką, jeżeli nie faktycznej defloracji<sup>523</sup>, to bodaj ewolucji wewnętrznej. Na nieszczęście była już pora, w której musiałem wyprawić Albertynę, o ile chciałem, aby wróciła na czas na obiad i abym ja wstał dość wcześnie na swój obiad. Gotowała mi Franciszka, która nie lubiła, aby obiad czekał. Już to musiało obrażać jeden z artykułów jej kodeksu, że Albertyna przyszła do mnie w nieobecności rodziców, że siedzi bez końca, tak że wszystko się przez nią spóźni. Ale wobec „gejszy” wszystkie te racje upadły; powiedziałem skwapliwie:

— Wyobraź sobie, że ja wcale nie mam łaskotek, mogłabyś mnie łaskotać godzinę, a ja bym nawet nie uczył.

— Doprawdy!

— Ręczę ci.

Albertyna zrozumiała z pewnością, że to jest niezręczny wyraz pragnienia; uczyniła jak ktoś, kto nam ofiarowuje rekomendację, o którą nie śmieliśmy go prosić, ale do której aluzja przebijała w naszych słowach.

— Czy mam spróbować? — rzekła z kobiecą pokorą.

— Jeżeli sobie życzysz; ale w takim razie byłoby wygodniej, gdybyś się całkiem wyciągnęła na łóżku.

— Czy tak?

— Nie, głębiej.

— Ale czy nie jestem za ciężka?

Domawiała tych słów, kiedy się drzwi otwarły i Franciszka weszła, niosąc lampę. Albertyna ledwo miała czas usiąść z powrotem na krześle. Może Franciszka wybrała umyślnie tę chwilę, aby nas zawstydzić; może podsłuchiwała pod drzwiami lub nawet patrzyła przez dziurkę od klucza. Ale nie potrzebowałem się posuwać do takiego przypuszczenia; Franciszka mogła się obejść bez sprawdzania wzrokiem tego, co jej instynkt musiał dostatecznie przewąchać; w miarę bowiem jak żyła w naszym domu, obawa, ostrożność, baczność i chytrność nauczyły ją w końcu w instynktowny i jasnowidzący niemal sposób znać nas, tak jak majtek zna morze, myśliwiec<sup>524</sup> zwierzyńcę, a chorobę, jeżeli nie lekarz, to często bodaj chory. Wszystko to, co Franciszka zdołała przeniknąć, mogłoby zdumieć tak, jak nas zdumiewa daleko posunięty stan pewnych wiadomości u starożytnych wobec ich prymitywnych środków informacji. (Środki Franciszki nie były bogatsze: ot, parę słów stanowiących ledwie dwudziestą część naszych rozmów przy obiedzie, słów pochwyconych w lot przez kamerdynera i niedokładnie zaniesionych do kredensu). Nawet błędy jej wynikały raczej — jak błędy starożytnych, jak bajki, w które wierzył Platon<sup>525</sup> — z fałszywych pojęć o świecie i z powziętych z góry idei niż z ubóstwa środków materialnych. W ten sposób, jeszcze za naszych czasów, największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem<sup>526</sup>. Ale o ile braki, naturalne u służącej, nie przeszkodziły Franciszce nabyć wiedzy koniecznej dla jej celów — cel ów polegał na tym, aby nas zawstydzić, udzielając

<sup>522</sup>gejsza — w Japonii: kobieta zawodowo zajmująca się dotrzymywaniem towarzystwa i zapewnianiem rozrywki mężczyznom na przyjęciach, bawiąca gości rozmową, tańcem, śpiewem i grą na instrumentach. [przypis edytorski]

<sup>523</sup>defloracja — rozdziejwienie, pozbawienie kobiety dziewictwa. [przypis edytorski]

<sup>524</sup>myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>525</sup>Platon (427–347 p.n.e.) — filozof grecki, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego. [przypis edytorski]

<sup>526</sup>największe odkrycia w dziedzinie życia owadów mógł poczynić uczony, który nie rozporządzał żadnym laboratorium, żadnym przyrządem — zapewne odniesienie do pracy Darwina *Fertilisation of Orchids by Insects* (*O zapładnianiu storczyków przez owady*, 1862), w której rozwinął zagadnienie zależności ewolucyjnych między roślinami a zapylającymi je owadami. [przypis edytorski]

nam rezultatów tej wiedzy — skrępowanie zrobiło więcej; tu zaporą nie ograniczyła się do nieparaliżowania rozmachu, ale wspomagała go potężnie. Faktem jest, że Franciszka nie zaniedbała żadnego środka pomocniczego — intonacji i gestu. O ile nie wierzyła nigdy w to, cośmy jej mówili i w cośmy pragnęli wzbudzić jej wiarę, przyjmowała w zamian bez cienia wątpliwości wszystko najniedorzeczniejsze, co opowiadała osoba z jej klasy, a zwłaszcza to, co mogło obrażać nasze pojęcia. O ile sposób, w jaki słuchała naszych twierdzeń, świadczył o jej niedowierzaniu, o tyle akcent, z jakim powtarzała (gdym ta pośrednia forma pozwalała jej bezkarnie obrzucać nas najgorszymi zniewagami) słowa kucharki, która jej opowiedziała, jak zwymyślała swoich państwa i jak, traktując ich przy wszystkich od „ścierwa”, uzyskała od nich tysiąc przywilejów, świadczył, że Franciszka wierzy w to jak w ewangelię. Dodawała nawet: „Ja, bywszy państwem, nie zniesłabym czegoś takiego”. Daremnie, mimo naszej niewielkiej sympatii do damy z czwartego piętra, wzruszaliśmy ramionami, niby na nieprawdopodobną bajkę, na to opowiadanie, stanowiące tak zły przykład; odtwarzając je, Franciszka umiała mu nadać nieznośny repliki i drażniący ton pewnika wykluczającego wszelką dyskusję.

Ale zwłaszcza, jak pisarze, skrępowani tyranią monarchy lub poetyki, surowością prozodii<sup>527</sup> lub religią państwową, osiągają często siłę wyrazu, z jakiej byłby ich zwolnił ustrój politycznej swobody lub literackiej anarchii, tak Franciszka, nie mogąc nam odpowiedzieć w sposób wyraźny, mówiła jak Tejrezjasz<sup>528</sup>, a pisała jak Tacyt<sup>529</sup>. Wszystko, czego nie mogła wyrazić wprost, umiała zawrzeć w jednym zdaniu, do którego nie mogliśmy się przyczepić bez ujmy dla siebie samych; a nawet nie w zdaniu, ale w milczeniu, w sposobie, w jaki stawiała jakiś przedmiot.

Zdarzyło się na przykład zostawić na biurku, przez nieuwagę, między innymi listami jakiś list, którego Franciszka nie powinna była widzieć, dlatego na przykład, że piszący mówił o Franciszce z niechęcią pozwalającą się domyślać podobnej niechęci u adresata. Wieczorem, kiedy wróciłem niespokojny i skierowałem się wprost do swego pokoju, wówczas, na listach ułożonych w porządku we wzorową kupkę, kompromitujący dokument od razu uderzał moje oczy, tak jak musiał uderzyć wprzód oczy Franciszki; leżał umieszczony przez nią na samym wierzchu, prawie osobno, z ostentacją, która miała swój język, swoją wymowę i która już w drzwiach krzyczała do mnie, przyprawiając mnie o wstrząs. Franciszka celowała w przygotowywaniu tych efektów, mających w jej nieobecności objaśnić widza tak skutecznie, że kiedy później wkraczała, ów pewien był, że ona wie wszystko. W tym, aby kazać mówić martwym przedmiotom, kojarzyła genialną i cierpliwą sztuką Irvinga i Fryderyka Lemaître<sup>530</sup>.

W tej chwili, trzymając nad Albertyną i nade mną zapaloną lampę, dobywającą z cienia wszystkie widocznie jeszcze ślady, jakie ciało młodej dziewczyny wyłobilo na łóżku, Franciszka robiła wrażenie *Sprawiedliwości oświetlającej zbrodnię*<sup>531</sup>. Twarz Albertyny nie traciła na tym oświetleniu. Wydobyło ono z jej policzków ten sam słoneczny połysk, który mnie czarował w Balbec. Ta twarz Albertyny, której całość miewała czasem na dworze jakąś matową bladeść, ukazywała, przeciwnie — w miarę oświetlenia lampą — płaszczyzny tak lśniące i równo zabarwione, tak jędrne i gładkie, że można by je porównać z bogatą karnacją pewnych kwiatów.

Zdumiony nieoczekiwanym wejściem Franciszki, wykrzyknąłem:

— Jak to, już lampa? Och, jakże to światło razi!

Drugie z tych zdań miało z pewnością pokryć moje zmieszanie, pierwsze usprawiedliwić zapóźnienie się. Z okrutną dwuznacznością Franciszka odparła:

<sup>527</sup> *prozodia* — nauka o brzmieniowych właściwościach mowy lub wiersza: akcenty, iloczasy, intonacji. [przypis edytorski]

<sup>528</sup> *Tejrezjasz* (mit. gr.) — niewidomy wróżbita tebański; obdarzony długim życiem, którego część przeżył jako kobieta. [przypis edytorski]

<sup>529</sup> *Tacyt*, właśc. *Publius Cornelius Tacitus* (ok. 55–120) — wybitny historyk rzymski; w swoich pracach starał się o rzetelność i obiektywizm. [przypis edytorski]

<sup>530</sup> *Irving* i *Lemaître* — znani ówczesni aktorzy: *Henry Irving*, właśc. *John Henry Brodribb* (1838–1905): słynny angielski aktor, reżyser i menadżer teatralny, pierwszy aktor, któremu nadano szlachectwo (1895); *Frédéric Lemaître* (1800–1876): jeden z najwybitniejszych aktorów francuskich XIX w. [przypis edytorski]

<sup>531</sup> *Sprawiedliwość i boska Zemsta ścigające Zbrodnię* — obraz Pierre-Paula Prud'hona z 1808, przedstawiający uciekającego zbrodniarza i ścigające go dwie uskrzydłone postacie, z których jedna trzyma w ręce pochodnię, a druga miecz, a pod nimi jako Ofiara leży na ziemi młody nagi mężczyzna; obecnie w Luwrze w Paryżu. [przypis edytorski]



— Czy mam zgaszać?

— Sić? — szepnęła mi w ucho Albertyna, spowijając mnie czarem poufalej żywości, z jaką, przyjmując mnie równocześnie za mistrza i za współnika, wsunęła to psychologiczne stwierdzenie w pytający ton kwestii gramatycznej.

Kiedy Franciszka wyszła, a Albertyna znów usiadła na łóżku, rzekłem:

— Czy wiesz, czego się boję? Jeśli tak dalej pójdzie, nie będę się mógł wstrzymać, aby cię nie pocałować.

— To by było straszne nieszczęście.

Nie od razu usłuchałem tego zaproszenia; komu innemu mogłoby się ono nawet wydać zbyteczne, bo Albertyna miała akcent tak zmysłowy i słodki, że już mówiąc do kogoś, zdawała się go tulić. Słowo jej było pieszczotą, rozmowa jej obsypywała pocałunkami. A przecież to zaproszenie było mi bardzo mile. Byłoby mi mile nawet ze strony innej ładnej dziewczyny w tym samym wieku; ale fakt, że Albertyna była dla mnie teraz tak łatwa, dawał mi więcej niż przyjemność, dawał mi konfrontację obrazów nasyconych pięknnością. Przypomniałem sobie Albertynę najpierw na plaży, prawie namalowaną na tle morza, mającą dla mnie istnienie nie bardziej rzeczywiste niż owe obrazy w teatrze, gdzie nie wiemy, czy mamy do czynienia z samą aktorką, ze statystką dublującą ją w danej chwili, czy jedynie z projekcją świetlną. Potem prawdziwa kobieta odszczepiła się od świetlnego pęku, podeszła do mnie, ale jedynie po to, abym mógł stwierdzić, że w rzeczywistym świecie nie jest ona bynajmniej tak przystępna, jak się to wydawało w magicznym obrazie. Dowiedziałem się, że niepodobna dotknąć jej, pocałować, że można z nią tylko rozmawiać, że tak samo nie jest dla mnie kobietą, jak nefrytowe<sup>532</sup> winogrona, niejadalna dekoracja dawnych stołów, nie są winogronami. I oto na trzecim planie ukazywała mi się realna jak w drugiej koncepcji, ale łatwa jak w pierwszej; i to tym rozkoszniej łatwa przez to, że tak długo nie wierzył w tę łatwość. Mój wzrost wiedzy o życiu (mniej jednolitym, mniej prostym, niż sądziłem zrazu) przywiódł mnie tymczasowo do agnostycyzmu<sup>533</sup>. Cóż można twierdzić, skoro to, w co się wierzyło zrazu, okazało się fałszywe potem i znowuż na trzeciej kondygnacji okazuje się prawdą?

I niestety, nie był to koniec moich odkryć z Albertyną. W każdym razie, nawet gdyby nie romantyczny urok tej lekcji bogactwa przekrojów odsłanianych kolejno przez życie (urok przeciwny temu, jakiego kosztował Saint-Loup przy obiedzie w Rivebelle, odnajdując na spokojnej twarzy niegdyś dotykane ustami rysy pośród masek, jakie nałożyło życie), wiadomość, że pocałować Albertynę jest rzeczą możliwą, dawała przyjemność większą może jeszcze niż sam pocałunek. Cóż za różnica między posiadaniem jakiejś kobiety, z którą stykamy się tylko fizycznie (bo jest tylko kawałkiem ciała), a posiadaniem młodej panny, którą widywało się na plaży w gronie przyjaciółek, w pewne dni — nie wiadomo nawet czemu w te dni raczej niż w inne — wśród nieustannej obawy, że się jej już nie ujrzy. Życie odkryło nam w całej rozciągłości powieść o tej dziewczynce; dało nam dla oglądania jej jedno narzędzie optyczne, potem inne; przydało cielesnej żądzы akompaniament, zstokrotniający ją i różniący ją od owych bardziej duchowych i trudniejszych do zaspokojenia pragnień, które nie budzą się z odrętwienia i pozwalają żądzы działać samej, wówczas gdy zmierza jedynie do posiadania kawałka ciała. Ale te same pragnienia, aby posiadać całą sferę wspomnień, rodzących w nich nostalgię wygnańczą, wznoszą się burzliwie obok owej żądzы, potęgują ją, nie mogąc za nią podążać aż do spełnienia, aż do wchłonięcia niematerialnej realności — wchłonięcia niemożliwego w tej postaci, w jakiej jej pragniemy — oczekują owej żądzы w połowie drogi i znowuż towarzyszą jej w chwili wspomnienia, nawrotu. Zamiast policzków pierwszej lepszej, choćby najświeższych, ale bezimiennych, pozbawionych tajemnicy i uroku, całować lica, o których tak długo marzyłem, znaczyłoby poznać smak i soczystość jakże często oglądanego koloru. Widziało się kobietę, prosty obraz pomieszczony w dekoracji życia, kobietę — jak Albertyna — rysującą się na tle morza; i nagle można ten obraz zdjąć, postawić go koło siebie, oglą-

Pożądanie, Miłość

<sup>532</sup>nefryt — twarda, zwykle zielona skała, używana do wyrobu ozdobnych przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>533</sup>agnostycyzm — pogląd filozoficzny negujący możliwość pełnego poznania obiektywnej rzeczywistości, w szczególności wykluczający możliwość dowiedzenia się, czy bogowie lub Bóg istnieją oraz jaką mają naturę. [przypis edytorski]

dać kolejno jego wymiary, kolory, tak jakby się go przesuwano za szkłem stereoskopu<sup>534</sup>. Dlatego właśnie jedynie interesujące są kobiety nieco trudne, których nie zdobywa się od razu, o których zrazu nie wiemy nawet, czy kiedy będziemy je mogli posiadać. Bo znać je, zbliżyć się do nich, zdobywać je to znaczy zmieniać kształt, wielkość, oprawę ludzkiego obrazu; to jest lekcja względności w ocenie zjawiska, pięknego do oglądania na nowo, kiedy odzyskało swoją cienkość sylwetki w dekoracji życia. Kobiety, które się poznało po prostu u stręczycielki, nie interesują nas, bo pozostają niezmiennie.

Z drugiej strony Albertyna skupiała dokoła siebie wszystkie wrażenia serii morskiej, szczególnie mi drogiej. Zdawało mi się, że na policzkach tej dziewczyny mógłbym ucałować całą plażę Balbec.

— Jeżeli naprawdę pozwalasz się pocałować, wolałbym to odłożyć na później i dobrze wybrać moment. Ale żebyś tylko nie zapomniała wtedy, żeś mi pozwoliła. Trzeba mi dać „bon na pocałunek”.

— Mam go podpisać?

— A gdybym go wziął zaraz, czy i tak miałbym do niego prawo później?

— Zabawny jesteś ze swoimi bonami; wystawię ci nowy od czasu do czasu.

— Powiedz mi jeszcze jedno: wiesz, w Balbec, kiedy cię jeszcze nie znałem, często miałaś spojrzenie twarde, chytre; czy nie mogłabyś mi powiedzieć, o czym myślałaś w takich chwilach?

— Och, całkiem nie pamiętam.

— O, żeby ci pomóc: jednego dnia twoja przyjaciółka Gizela skoczyła równymi nogami przez krzesło, na którym siedział starszy pan. Staraj się sobie przypomnieć, coś pomyślała w tej chwili.

— Z Gizelą byliśmy w ogóle dość daleko; ot, należała ostatecznie do „bandy”, ale nie całkiem. Musiałam pomyśleć, że jest pospolita i źle wychowana.

— A! to wszystko?

Byłbym chciał przed pocałowaniem Albertyny móc ją na nowo napełnić tajemnicą, jaką była dla mnie na plaży, zanim ją poznałem; odnaleźć w niej krainę, gdzie żyła przedtem; w miejsce tej krainy, skoro jej nie znałem, mogłem bodaj wstawić wszystkie wspomnienia naszego życia w Balbec, plusk fal rozpryskujących się pod oknem, krzyki dzieci. Ale pozwalając spojrzeniom ślizgać się po różowej krągłości jej policzków, których łagodne linie zamierały u stóp pierwszych fal jej pięknych czarnych włosów, biegnących w kształcie ruchomych pagórków, wznoszących strome blanki i żłobiących falistości swoich bruzd, musiałem sobie powiedzieć: „Ostatecznie, skoro mi się to nie powiodło w Balbec, chcę wreszcie poznać smak tej nieznannej róży, policzków Albertyny. I skoro kręgi, przez jakie możemy przeprowadzić rzeczy i ludzi w biegu naszego istnienia, nie są zbyt liczne, będę mógł poniekąd uważać swoje istnienie za spełnione, skoro wyrwawszy z odległej ramy kwitnącą twarz, którą wybrałem wśród wszystkich innych, ściągnę ją na tę nową płaszczyznę, gdzie dostąpię wreszcie poznania jej przez wargi”. Powiadałem to sobie, bo sądziłem, że istnieje poznanie przez wargi; powiadałem sobie, że poznam smak tej cielesnej róży, bom nie pomyślał, że człowiekowi, istocie oczywiście mniej pierwotnej niż jeźowiec, a nawet niż wieloryb, brak jest wszelako jeszcze pewnej ilości zasadniczych narządów; a zwłaszcza nie posiada żadnego, który by służył do pocałunku. Ten nieistniejący organ zastępuje człowiek wargami, przez co dochodzi może do rezultatów nieco doskonalszych, niż gdyby był skazany na pieszczenie kochanki rogiem. Ale wargi, stworzone na to, aby przewodzić do podniebienia smak tego, co je kusi, muszą się zadowalać — nie rozumiejąc swej omyłki i nie przyznając się do swego rozczarowania — błędzeniem po powierzchni, muszą się objąć o zamknięcie nieprzenikalnej i upragnionej twarzy. Zresztą w tej chwili, w samym zetknięciu z ciałem, wargi — nawet przyjąwszy, że stałyby się sprawniejsze i lepiej obdarzone — również nie mogłyby z pewnością kosztować smaku, którego natura nie pozwala im obecnie pochwycić, bo w tej beznadziejnej strefie, gdzie nie mogą znaleźć swego pokarmu, zostały samotne; wzrok, a potem węch, opuściły je od dawna. Zrazu, w miarę jak moje usta zaczęły się zbliżać do twarzy, którą wzrok mój kazał

Pocałunek

<sup>534</sup>stereoskop — przyrząd optyczny służący do obserwowania fotografii stereoskopowych, złożonych z dwóch zdjęć tego samego obiektu, ale wykonanych z różnych punktów widzenia; bardzo popularny w XIX w., przed upowszechnieniem kina. [przypis edytorski]

im ucałować, wzrok ów, zmieniając miejsce, ujrzał nowe policzki; szyja, oglądana z bliska i niby pod lupą, ujawniła w ziarninie tkanki jędrność, która zmieniła charakter twarzy.

Ostatnie zdobycze fotografii ścielą u stóp katedry domy, które z bliska wydawały się nam często prawie równie wysokie jak wieże; każą się kolejno poruszać tym samym budowlom na kształt pułku, szeregami, tyralierą, zwartymi masami; zbliżają do siebie wzajem na Piazzetta<sup>535</sup> dwie kolumny, przed chwilą tak od siebie odległe; oddalają bliskie Salute<sup>536</sup> i umięją na bladym i zatartym tle zamknąć olbrzymi widnokrąg pod łukiem mostu, w ramie okna, wśród liści znajdującego się na pierwszym planie i silniej zaznaczonego drzewa; stwarzają kolejno jednemu i temu samemu kościołowi ramę z arkad wszystkich innych. I uważam, że jedynie ten proces mógłby, w równym stopniu co pocałunek, z tego, co uważamy za jakąś rzecz o określonym wyglądzie, wydobyć sto innych rzeczy, którymi ona jest równie dobrze, skoro każda z nich jest wyrazem nie mniej uprawnionej perspektywy. Krótko mówiąc, tak samo jak w Balbec Albertyna wydawała mi się często rozmaita, tak teraz, jak gdybym, szalenie przyspieszając szybkość zmian perspektywy i zabarwienia, następczonym nam przez daną osobę w kolejnych spotkaniach, chciał je zawrzeć wszystkie w kilku sekundach, aby doświadczalnie odtworzyć zjawisko różnicujące osobowość jakiejś istoty i wydobyć wszystkie zawarte w niej możliwości — jedno z drugich, niby z futerału — w owej krótkiej wędrówce moich warg do jej policzka, ujrzałem dziesięć Albertyn; ta jedna dziewczyna stała się niby bogini o wielu głowach; ostatnia, którą widziałem, kiedy się starał zbliżyć do niej, ustępowała miejsca innej. Dopóki nie dotknął tej głowy, widziałem ją bodaj, dochodził mnie jej lekki zapach. Ale niestety, nasze nozdrza i oczy są równie źle umieszczone dla pocałunku, jak wargi źle są ukształtowane do tego celu; naraz oczy moje przestawały widzieć, potem mój nos, zgnieciony, nie czuł już żadnego zapachu... Nie poznałem przez to lepiej smaku upragnionej różowości, ale odgadłem z tych przykrych oznak, że wreszcie całuję twarz Albertyny.

Czy to dlatego, żeśmy odgrywali scenę odwrotną do sceny z Balbec (wyobrażoną przez obrót bryły), gdy ja leżałem, a Albertyna siedziała (mając tym samym możliwość uniknięcia brutalnego ataku i kierowania przyjemnością wedle własnej chęci), czy dlatego przyzwoliła mi teraz z taką łatwością tego, czego mi odmawiała niegdyś z miną tak surową? (Bez wątplenia, rozkoszny wyraz, jaki przybierała dziś jej twarz za zbliżeniem moich warg, różnił się od owej dawnej miny zmianą nieskończenie drobną, ale zdolną zawrzeć cały dystans istniejący między gestem człowieka, który dobija rannego, a gestem człowieka, który go ratuje; między portretem wspaniałym lub okropnym). Nie wiedząc, czy mam być wdzięczny za odmianę Albertyny jakiemuś mimowolnemu dobroczyńcy, który pracował dla mnie w ciągu ostatnich miesięcy w Paryżu lub w Balbec, sądziłem, że to nasza zobopólna pozycja była główną przyczyną tej odmiany. Ale Albertyna podała mi inną rację, mianowicie tę: „A bo wówczas w Balbec nie znałam cię jeszcze, mogłam myśleć, że masz złe zamiary”. Ten argument wprawił mnie w osłupienie. Albertyna wytoczyła go z pewnością szczerze. Tak trudno jest kobiecie w ruchach swoich członków, we wzruszeniach swego ciała, w sam na sam z przyjacielem rozpoznać ów nieznaną grzech i paniczny lęk, iż obcy człowiek zamierza ją do niego wciągnąć.

W każdym razie, jakie bądź zmiany zaszły od jakiegoś czasu w jej życiu — zmiany zdolne może wytłumaczyć fakt, że Albertyna tak łatwo użyczyła mojemu doraźnemu i czysto fizycznemu pragnieniu tego, czego w Balbec ze zgrozą odmówiła mojej miłości — bardziej zdumiewająca zmiana zaszła w Albertynie tegoż samego wieczoru, skoro tylko jej pieszczoty doprowadziły mnie do finału, który musiała z pewnością spostrzec; bałem się nawet, aby to w niej nie zrodziło lekkiego odruchu wstrętu i obrażonego wstydu, jakie zdradziła Gilberta w podobnym momencie za klombem laurów na Polach Elizejskich.

Stało się przeciwnie. Już w chwili gdym położył Albertynę na łóżku i zaczął ją pieścić, przybrała wyraz, jakiego u niej nie znałem, wyraz powolnej, prostej, dziecięcej niemal uległości. Odsuwając od niej wszelkie myśli, wszelkie zwyczajne pretensje, chwila poprzedzająca rozkosz — podobna w tym do chwili, która następuje po śmierci — wróciła jej odmłodzonym rysom jak gdyby niewinność dzieciństwa. Niewątpliwie, wszelka istota, której talent ma się sposobność nagle objawić, staje się skromna, pilna i uroczą;

<sup>535</sup> *Piazzetta* (wł.: placyk) — przedłużenie placu św. Marka w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>536</sup> *Salute* (pot.) — barokowa bazylika Santa Maria della Salute (wł.: św. Marii od zdrowia) w Wenecji. [przypis edytorski]

Pocałunek

Rozkosz, Śmierć,  
Dzieciństwo

o ile zwłaszcza czuje, że tym talentem sprawia nam wielką przyjemność, sama jest z tego szczęśliwa, chce nam dać tę rozkosz pełną. Ale w tym nowym wyrazie twarzy było u Albertyny coś więcej niż zawodowa bezinteresowność, sumiennosc i szczodrość; było coś na kształt nagłego i konwencjonalnego oddania; w czym Albertyna sięgnęła dalej niż we własne dziecięstwo, odnalazła młodość swojego gatunku. Bardzo różna ode mnie, który nie pragnąłem niczego więcej poza fizycznym ukojeniem uzyskanym w końcu, Albertyna uważała widocznie, że byłoby z jej strony czymś zbyt pospolitym wierzyć, że ta fizyczna rozkosz może się obyć bez udziału serca i że czemuś kładzie koniec. Ona, tak spiesząca się przed chwilą, teraz — z pewnością i dlatego, że uważała, iż pocałunki wyrażają miłość i że miłość przeważa wszelkie obowiązki — kiedy jej przypominał obiad, mówiła:

— Ale to nic nie szkodzi, wierz mi, ja mam czas.

Zdawało się, że ją żenowałoby wstać po tym, co zrobiła, urażałoby to jej poczucie form. Tak Franciszka, kiedy, nie odczuwając pragnienia, uznała, że powinna przyjąć z przystojną wesołością kieliszek wina, którym ją częstował Jupien, nie ośmieliłaby się odejść zaraz po ostatnim łyku, choćby ją wzywał najpilniejszy obowiązek. Albertyna — i to była może (obok innej, która ujawni się później) przyczyna, która bez mojej wiedzy kazała mi jej pragnąć — była jednym z wcieleń młodej wieśniaczki francuskiej, której model znajduje się w Saint-André-des-Champs. Poznałem w niej — wspólne jej i Franciszce, która miała jednak stać się niebawem jej śmiertelnym wrogiem — uprzejmość dla gościa i dla innoziemca, obyczajność, szacunek łoża.

Franciszka, która po śmierci cioci Leonii czuła się obowiązana stale mówić bolesnym tonem, uważałaby za nieprzyzwoite w ciągu miesięcy poprzedzających ślub córki, gdyby ta, przechadzając się z narzeczonym, nie szła z nim pod ramię. Albertyna, leżąc bezwładnie obok mnie, powiadała:

— Masz ładne włosy, masz ładne oczy, milusi jesteś.

Kiedy, zwróciwszy jej uwagę, że jest późno, dodałem: „Nie wierzysz?” — odpowiedziała, co było może prawdą, ale dopiero od dwóch minut i na kilka godzin:

— Wierzę ci zawsze.

Mówiła o mnie, o mojej rodzinie, o mojej sferze. Powiadała: „Och, ja wiem, że twoi rodzice znają ludzi bardzo dystyngowanych. Jesteś w przyjaźni z Robertem Forestier i z Zuzią Delage”. W pierwszej chwili te nazwiska nie powiedziały mi nic. Ale nagle przypomniałem sobie, że w istocie bawiłem się na Polach Elizejskich z Robertem Forestier, którego nigdy od tego czasu nie widziałem. Co do Zuzi Delage, była to cioteczna wnuczka pani Blandais; miałem raz iść do niej na lekcję tańca, a nawet grać jakąś rolę w teatrze amatorskim w domu jej rodziców. Ale obawa, że dostanę ataku konwulsyjnego śmiechu i krwawienia z nosa, udaremniły tę wizytę, tak że nigdy owej Zuzi Delage nie widziałem. Co najwyżej przypominałem sobie coś mglisto, że nauczycielka z piórkiem od Swannów była wprzód u jej rodziców, ale może to była tylko siostra tej nauczycielki albo jej przyjaciółka. Upewniłem Albertynę, że Robert Forestier i Zuzanna Delage mało zajmują miejsca w moim życiu.

— Możliwe, wasze matki żyją blisko z sobą, to pozwala określić twoją pozycję. Często mijam się z Zuzią Delage na avenue de Messine; ma szyk.

Nasze matki znały się jedynie w wyobraźni pani Bontemps, która dowiedziawszy się, że niegdyś bawiłem się z Robertem Forestier (podobno deklamowałem mu jakieś wiersze), wywnioskowała stąd, że nasze rodziny żyją z sobą blisko. Ile razy pani Bontemps słyszała nazwisko mamy, zawsze podobno mówiła: „A, tak, to kółko Delage’ów, Forestierów itd.”, dając moim rodzicom dobry stopień, na który nie zasługiwali.

Zresztą pojęcia socjalne Albertyny odznaczały się zadziwiającą głupotą. Uważała, że Simonnetowie przez dwa „n” są czymś niższym nie tylko od Simonetów przez jedno „n”, ale od wszystkich innych możliwych osób. To, że ktoś nosi to samo nazwisko, nie będąc naszym krewnym, stanowi doniosłą rację gardzenia nim. Zapewne, bywają wyjątki. Może się zdarzyć, że dwaj Simonnetowie (przedstawieni sobie wzajem na jednym z owych zebrań, gdzie się odczuwa potrzebę mówienia o czymkolwiek i gdzie ludzie czują się nalożeni optymizmem, na przykład w orszaku pogrzebowym w drodze na cmentarz), stwierdziwszy wspólność nazwiska, dochodzą z wzajemną życzliwością, a bez rezultatu, czy nie ma między nimi jakiegoś pokrewieństwa. Ale to jest wyjątek. Wielu ludzi nie zasługuje na szacunek, ale my nie wiemy o tym lub nie dbamy o to. Ale jeżeli tożsa-

mość nazwiska sprawia, że nam doręczają ich listy lub odwrotnie, zaczynamy się odnosić do nich z nieufnością, często usprawiedliwioną. Obawiamy się omyłek, uprzedzamy je grymasem niesmaku, kiedy ktoś wspomni naszego imiennika. Czytając w dzienniku nasze nazwisko noszone przez niego, mamy uczucie, że on je sobie przywłaszczył. Grzechy innych członków społeczeństwa są nam obojętne. Obciążamy nimi tym ciężiej naszych imienników. Nienawiść, jaką żywimy dla innych Simonnet, jest tym silniejsza, że nie jest indywidualna, ale przekazywana dziedzicznie. Po upływie dwóch pokoleń pamięta się jedynie wzdurliwą minę, jaką dziadkowie nasi mieli dla innych Simonnetów; nie znamy jej przyczyn; nie zdziwiłaby nas wiadomość, że się to zaczęło od jakiegoś morderstwa. To trwa często aż do dnia, kiedy między jakąś Simonnetówną i Simonnetem — wcale nie krewnymi — sprawa zakończy się małżeństwem.

Albertyna mówiła mi nie tylko o Robercie Forestier i o Zuzi Delage, ale samorzutnie, z obowiązku zaufania, jakie stwarza zbliżenie ciał, przynajmniej z początku, zanim zrodzi specjalną dwoistość i skrytość w stosunku do tej samej istoty, opowiedziała mi o swojej rodzinie i o wuju Anny historię, której w Balbec nie chciała mi zdradzić ani słówkiem. Obecnie sądziła, że nie godzi się mieć dla mnie sekretów. Teraz, gdyby najlepsza przyjaciółka opowiedziała jej coś przeciw mnie, Albertyna uważałaby za swój obowiązek powtórzyć mi to.

Nalegałem, aby poszła do domu; poszła w końcu, ale tak zawstydzona za mnie moją niedelikatnością, że niemal śmiała się, aby mnie usprawiedliwić, niby pani domu, do której ktoś przyjdzie w marynarce; przyjmie takiego gościa, ale nie jest to jej obojętne.

— Śmiejesz się? — rzekłem.

— Nie śmieję się, uśmiecham się do ciebie — rzekła tkliwie. — Kiedy cię znów zobaczę? — dodała, jakby nie dopuszczając myśli, aby to, cośmy zrobili — będące zazwyczaj uwienieniem — nie było bodaj wstępem do wielkiej przyjaźni, do przyjaźni praistniejącej, którą naszą powinnością wobec samych siebie było odkryć, wyznaczyć sobie wzajem i która sama jedna mogła wytłumaczyć to, czegośmy się dopuścili.

— Skoro mnie upoważniasz, dam ci znać, jak tylko będę mógł.

Nie śmiałem jej powiedzieć, że uzależniam wszystko od możliwości widywania pani de Stermaria.

— Ale daruj, że to wypadnie niespodzianie, ja nigdy nie wiem z góry — rzekłem. — Czy byłoby możliwe ściągnąć cię kiedyś wieczorem, kiedy będę wolny?

— Niedługo będzie to bardzo możliwe, bo będę miała osobne wejście, niezależnie od ciotki. W tej chwili nie ma sposobu! W każdym razie zajdę na wszelki wypadek jutro lub pojutrze po południu. Przyjmiesz mnie, o ile będziesz mógł.

Doszedłszy do drzwi, zdziwiona, że jej nie wyprzedził, podała mi policzek, uważając, że nie potrzeba grubej fizycznej żądy na to, aby się teraz pocałować. Ponieważ krótkie stosunki, jakie nas łączyły przed chwilą, były z rzędu tych, do jakich prowadzi czasem najbliższa zażyłość i wybór serca, Albertyna uważała za swój obowiązek zaimprovizować i dodać doraźnie do pocałunków, jakieśmy wymienili na łóżku, uczucie, motywujące te pocałunki u rycerza i damy, takich jakich by mógł wyroić średniowieczny rybał<sup>537</sup>.

Kiedy mnie opuściła ta młoda Pikardka, którą mógłby wyrzeźbić w kruchcie snycerz<sup>538</sup> zdobiący kościół Saint-André-des-Champs, Franciszka przyniosła mi list, który mnie przejął radością. List był od pani de Stermaria; godziła się zjeść ze mną obiad. Od pani de Stermaria — to znaczy dla mnie więcej niż od pani de Stermaria rzeczywistej: od tej, o której myślałem cały dzień przed przybyciem Albertyny. To jest straszliwe oszukanie miłości, że zaczyna nas mamić nie kobietą ze świata realnego, ale lalką zamieszkałą w naszym mózgu, jedyną zresztą, którą mamy zawsze do rozporządzenia, jedyną, którą będziemy posiadali, którą dowolność wspomnienia, prawie równie absolutna jak dowolność wyobraźni, może uczynić tak odmienną od kobiety rzeczywistej, jak rzeczywiste Balbec było dla mnie różne od Balbec marzonego — sztuczny twór, do którego pomału, ku naszej męce, upodobnimy realną kobietę.

Albertyna tak mnie zapóźniła, że kiedym przybył do pani de Villeparisis, przedstawienie skończyło się właśnie. Niezbyt miałem ochotę przeciskać się przez tłum gości,

<sup>537</sup>rybał — średniowieczny wędrowny śpiewak a. aktor. [przypis edytorski]

<sup>538</sup>snycerz — artysta bądź rzemieślnik rzeźbiący w drewnie, dawniej także w kamieniu. [przypis edytorski]

który odpływał, komentując wielką nowinę: separację (podawano ją za fakt dokonany) księstwa Błajejów. W oczekiwaniu, aż będę się mógł przywitać z panią domu, siadłem na pustej berzerce<sup>539</sup> w saloniku, kiedy z głównego salonu, gdzie z pewnością siedziała w pierwszym rzędzie krzesel, wyłoniła się księżna Oriana — majestatyczna, duża i wysoka, w długiej atlasowej żółtej sukni, haftowanej w ogromne czarne maki. Widok jej nie budził już we mnie żadnego wzruszenia. Pewnego dnia mama rzekła do mnie, kładąc mi ręce na czole, jak miała zwyczaj czynić, kiedy się bała, że mi sprawi przykrość: „Nie rób tych wypraw na spotkanie pani de Guermantes; cały dom śmieje się z tego. Widzisz zresztą, jaka babcia jest chora; doprawdy, masz ważniejsze rzeczy niż czatować na kobietę, która sobie drwi z ciebie”. I za jednym zamachem, jak hipnotyzer, gdy ci otwiera oczy i sprowadza cię z powrotem z dalekiego kraju, gdzie bawiłeś wyobraźnią, lub jak lekarz, gdy budząc w tobie poczucie obowiązku i rzeczywistości, leczy cię z urojonej choroby, w której się lubowałeś, matka obudziła mnie z nazbyt długiego snu. Następnego dnia obróciłem na ostatnie pożegnanie z chorobą, której się wyrzekałem; płacząc, śpiewałem przez kilka godzin *Pożegnanie Schuberta*<sup>540</sup>.

...Żegnaj — dziwne głosy  
Wzywają cię, aniele, byś leciał w niebiosy.

A potem, już był koniec. Przerwałem swoje ranne spacerowanie, i to tak łatwo, że wyciągnąłem z tego wróżbę — fałszywą, jak się okaże później — że łatwo przyzwyczaiłbym się do tego, aby nie widzieć już kobiety w ciągu życia. A kiedy potem Franciszka opowiedziała mi, że Jupien, chcąc powiększyć swój zakład, szuka sklepu w sąsiedztwie, wówczas, pragnąc dla niego coś znaleźć, mogłem podjąć na nowo swoje spacerowanie. Czułem się szczęśliwy, iż wałęsając się po ulicy, którą już z łóżka słyszałem krzyczącą lśniąco na kształt plaży, widzę pod żelazną podniesioną żaluzją mleczarni młode mleczarki o białych rękawach. Czułem się bardzo swobodny, bo miałem świadomość, że nie robię już tego dla widzenia pani de Guermantes; coś niby kobieta, która zachowuje nieskończone ostrożności, dopóki ma kochanka, z chwilą zaś gdy z nim zerwała, pozwala się wałęsać jego listom, narażając się na to, że mąż odkryje tajemnicę błędu, którego przestała się obawiać z chwilą, gdy się go przestała dopuszczać.

Prawdziwą przykrość sprawiało mi odkrycie, że prawie wszystkie domy zamieszkałe były przez ludzi nieszczęśliwych. Tu żona płakała bez ustanku, bo ją mąż zdradzał. Gdzie indziej — odwrotnie. Ówdzie znów pracowita matka, grzmocona przez syna pijaka, starała się kryć swoje niedole przed oczami sąsiadów. Połowa ludzkości płakała. A kiedy poznałem tę połowę, przekonałem się, że jest tak nieznośna, iż pytałem sam siebie, czy słuszność nie jest po stronie cudzołóżnego męża lub wiarołomnej żony, którzy byli wiarołomni jedynie dlatego, że im odmówiono legalnego szczęścia, stawali się zaś czarujący i uczciwi dla każdego innego niż własna żona i własny mąż.

Niebawem moje ranne przechadzki straciły pretekst pomożenia Jupienowi. Okazało się, że stolarz, którego warsztat w dziedzińcu oddzielało od sklepu Jupiena jedynie cienkie przepierzenie, ma dostać wypowiedzenie od rządu, bo robi zbyt hałas. Jupien nie mógł marzyć o czymś lepszym; warsztat miał suteryny, dotąd służące stolarzowi na skład drzewa, a komunikujące<sup>541</sup> z naszą piwnicą. Jupien znalazłby tam pomieszczenie na węgle, usunąłby przepierzenie i miałby jeden obszerny sklep. Ale nawet bez tego pretekstu dalej wychodziłem na spacer przed śniadaniem. Zresztą Jupien, uważając, że cena księcia de Guermantes jest zbyt wygórowana, pozwalał oglądać warsztat w nadziei, iż książę, zwątpiwszy, czy znajdzie lokatora, zdecyduje się na opust; przy czym Franciszka, zauważywszy, że nawet po godzinach przeznaczonych na oglądanie lokalu odźwierny zostawia otwarte

<sup>539</sup>berzerka — niski, szeroki fotel z wyścielanym, pełnym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

<sup>540</sup>„Pożegnanie” Schuberta — pieśń *Adieu!*, opublikowana w Paryżu ok. 1835, opisana na stronie tytułowej jako kompozycja „F. Schuberta”, z francuskim tekstem Edouarda Belangera; jednak prawdziwym autorem muzyki był August Heinrich von Weyrauch (1788–1865), który skomponował ją do tekstu wiersza Karla Friedricha Gottloba Wetzego i wydał w 1824 pod tytułem *Nach Osten* (Na wschód); pieśń zyskała sobie popularność, często łączono ją z nazwiskiem Franza Schuberta (1797–1828), znanego austriackiego kompozytora muzyki romantycznej, i umieszczano w zbiorach jego utworów. [przypis edytorski]

<sup>541</sup>komunikować (daw.) — łączyć się, być połączonym. [przypis edytorski]

drzwi od sklepu stojącego pustką, zwęszyła zasadzkę zastawioną przez odźwiernego po to, aby zwabić narzeczoną lokaja Guermantów (znaleźliby tam gniazdko dla swojej miłości), a potem ich zaskoczyć.

Jak bądź się rzeczy miały, mimo że już nie potrzebowałem szukać sklepu dla Jupiena, dalej wychodziłem przed śniadaniem. Często w czasie tych spacerów spotykałem pana de Norpois. Zdarzało się, że rozmawiając z którymś z kolegów, kierował na mnie spojrzenie, które zbadawszy mnie gruntownie, wracało bez uśmiechu i bez ukłonu, tak jakby mnie ambasador wcale nie znał. Bo u tych ważnych dyplomatów popatrzeć w pewien sposób zgoła nie ma na celu okazać, że nas widzieli, ale że nas nie widzieli i że mają do pomówienia z kolegą o jakiejś ważnej sprawie.

Wysoka dama, którą mijałem często w pobliżu domu, była ze mną mniej ceremonialna. Bo mimo że jej nie znałem, obracała się w moją stronę, oczekiwała mnie — na próżno — przed witrynami sklepów, uśmiechała się do mnie tak, jakby mnie miała uściskać, oddawała się gestem. Jeśli spotkała kogoś, kto ją znał, przybierała z powrotem lodowatą minę.

Już od dawna w czasie tych rannych spacerów — wedle tego, com miał załatwić, bодаj aby kupić byle jaką gazetę — wybierałem drogę najprostszą, bez żalu, gdy leżała poza zwyczajną drogą księżnej, a bez skrupułów i komedii, jeżeli, przeciwnie, wiodła tamtędy. Bo ta droga nie była już dla mnie drogą zakazaną, gdzie wydzierałem niewdzięcznej fawor<sup>542</sup> oglądania jej wbrew woli. Ale nie myślałem, że moje uleczenie, dając mi w stosunku do pani de Guermantes normalną postawę, równoległe sprawi w niej ten sam skutek, umożliwiając jej uprzejmość i sympatię, o które już nie stałem<sup>543</sup>. Dotychczas sprzymierzone wysiłki całego świata w tym, aby mnie do niej zbliżyć, byłyby daremne wobec złych uroków, jakie rzuca nieszczęśliwa miłość. Potężniejsze od ludzi wróżki postanowiły, że w takich wypadkach nic nam nie pomoże, aż do dnia, w którym szczerze wyrzeczemy w sercu swoim słowa: „Nie Kocham już”. Miałem żal do Roberta, że mnie nie wprowadził do ciotki. Ale jak nikt inny, tak i on nie miał mocy przełamania czarów. Dopókim się kochał w pani de Guermantes, objawy uprzejmości, jakich doznawałem od innych, ich komplementy, robiły mi przykrość, nie tylko dlatego, że nie pochodziły od niej, ale dlatego, że ona o nich nie wiedziała. Otóż gdyby nawet wiedziała, na nic by się to nie zdało. Nawet w trakcie jakiegoś uczucia wyjazd, wymówienie się od obiadu, mimowolna i nieświadoma oschłość więcej pomagają niż wszystkie kosmetyki i najpiękniejsze stroje. Byłoby więcej karierowiczów, gdyby w tym sensie uczono sztuki robienia kariery.

W chwili gdy księżna mijała salonik, z myślą pełną przyjaciół, których nie znałem, a których miała może spotkać za chwilę w innym salonie, ujrzała mnie na berżerce. Zobojętniawszy dla niej naprawdę, pragnąłem być po prostu miły; podczas gdy dopóki kochałem, siliłem się — bez rezultatu — przybierać wyraz obojętności. Księżna skrzyła, podeszła do mnie, odnajdując uśmiech z owego wieczora w Operze — uśmiech, którego nie gasiło już przykre uczucie, że kocha ją ktoś, kogo ona nie kocha:

— Nie, niech się pan nie rusza; czy pozwoli pan, abym siadła na chwilę koło pana? — rzekła, unosząc wdzięcznie olbrzymią spódnicę, która inaczej zajęłaby całą berżerkę.

Większa ode mnie i jeszcze powiększona całą objętością swojej sukni, księżna muskała mnie prawie swoim cudnym nagim ramieniem, dokoła którego niedostrzegalny, a gęsty puszek wznosił nieustannie niby złocistą parę. Jasne jej włosy poiły mnie zapachem. Nie mogąc z braku miejsca łatwo obrócić się do mnie, zmuszona patrzeć raczej przed siebie niż w moją stronę, pani de Guermantes przybrała wyraz marzący i słodki jak na portrecie.

— Ma pan wiadomości od Roberta? — spytała.

W tej chwili przechodziła pani de Villeparisis.

— A, przychodzi pan o ładnej godzinie, szanowny panie, jak na ten jeden raz, kiedy się pana udało złapać!

Spostrzegłszy, że rozmawiam z jej siostrzenicą, pomyślała może, że jesteśmy bliżej, niż sądziła.

<sup>542</sup>fawor (daw.) — wyróżnienie, łaska; przychyłność, względy. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>nie stać o coś (daw.) — nie dbać o coś. [przypis edytorski]

— Ale nie chcę państwu przeszkadzać — dodała (bo usługi rajfurki należą do obowiązku gospodyni domu). — Czy nie zechciałby pan zjeść u mnie obiadu we środę razem z Orianą?

Był to dzień spodziewanego obiadu z panią de Stermaria; odmówiłem.

— A w sobotę?

Matka wracała w sobotę lub niedzielę, byłoby nieładnie zostawić ją samą; odmówiłem znowu.

— Och, widzę, że pana nie łatwo jest zdobyć.

— Czemu pan nie przyjdzie nigdy do mnie? — rzekła pani de Guermantes, kiedy pani de Villeparisis oddała się, aby powinszować artystom i wręczyć diwie<sup>544</sup> bukiet róż, któremu całą wartość dawała ręka ofiarodawczyni, bo kosztował tylko dwadzieścia franków. (Była to zresztą najwyższa cena margrabiny, kiedy ktoś śpiewał tylko raz. Osoby, które usławiły swoim talentem wszystkie poranki i wieczory, otrzymywały róże jej pędzla).

— To idiotyczne tak się widywać tylko u innych. Skoro pan nie chce zjeść ze mną obiadu u ciotki, czemu nie miałby pan przyjść na obiad do mnie?

Niektóre osoby, pozostałe pod lada pozorem możliwie najdłużej, ale wychodzące narreszcie, widząc księżnę zagadaną z młodym człowiekiem na meblu tak ciasnym, że można się na nim było zmieścić tylko we dwoje, pomyślały, że je źle poinformowano i że to nie księżę, ale księżna żąda separacji z mojego powodu. Zatem pospieszyli rozgłaszać tę nowinę. Lepiej niż ktokolwiek mogłem ocenić jej niedorzeczność. Ale byłem zdumiony, że w owych trudnych okresach, kiedy się przebąkiwało o separacji, księżna zamiast szukać samotności zaprasza właśnie kogoś, kogo zna tak mało. Zacząłem podejrzewać, że to tylko księżę nie pozwalał żonie zaprosić mnie i że teraz, skoro mąż ją rzuca, księżna nie widzi już przeszkód w otaczaniu się ludźmi, do których czuje sympatię.

Dwie minuty przedtem byłbym zdumiony, gdyby mi ktoś powiedział, że pani de Guermantes zaprosi mnie do siebie, tym bardziej na obiad. Wiedziałem, zapewne, że salon państwa de Guermantes nie może posiadać właściwości, jakie wysnułem z tego nazwiska; mimo to świadomość, że jest on dla mnie zamknięty, kazała mi darzyć go tym samym rodzajem istnienia, co salony, których opis czytaliśmy w powieści lub których obraz widzieliśmy we śnie. To sprawiło, że nawet kiedyś był pewny, że ów salon podobny jest do wszystkich innych, roilem go sobie całkowicie odmiennym; między mną a nim była granica, przy której się kończy rzeczywistość. Być na obiedzie u państwa de Guermantes to było coś niby z dawna upragniona podróż, ucieleśnienie marzeń, zawarcie znajomości ze snem. Mogłbym bodaj przypuszczać, że chodzi o jeden z tych obiadów, na które gospodarstwo domu zapraszają kogoś, mówiąc: „Niech pan przyjdzie, nie będzie *absolutnie* nikogo prócz nas”, udając, że przypisują pariasowi<sup>545</sup> lęk przed myślą o zetknięciu się z ich przyjaciółmi, i starając się zmienić w szacowny przywilej (zastrzeżony jedynie dla najbliższych) kwarantannę „dzikusa mimo woli”, wykluczonego, a rzekomo wybranego. Ale zrozumiałem, przeciwnie, że pani de Guermantes pragnie mnie uraczyć tym, co ma najprzyjemniejszego, kiedy mi powiedziała, przesuwając równocześnie przed moimi oczami niby fiołkowy czar przybycia Fabrycego do domu ciotki oraz cud jego prezentacji hrabiemu Mosca w *Pustelni Parmeńskiej*.

— Czy w piątek byłby pan wolny, w małym kółku? To byłoby ślicznie. Będzie księżna Parmy, która jest uroczą; zresztą nie zapraszałabym pana, gdyby pan nie miał spotkać ludzi przyjemnych.

W ruchomych sferach „świata”, pochłoniętych nieustannym ruchem wstępującym, rodzina idzie w zaniedbanie; gra ona natomiast ważną rolę w sferach ustabilizowanych, jak drobna burżuazja i jak najwyższa arystokracja, która nie może się wspinać wyżej, bo nad nią, z jej swoistego punktu widzenia, nie ma nic. Przyjaźń, jaką mi okazowali „ciotka Villeparisis” i Robert, zrobiły może ze mnie dla pani de Guermantes i dla jej przyjaciół, żyjących wciąż samymi sobą i w tym samym kółku, przedmiot zainteresowania, któremu się nie domyślał.

<sup>544</sup>diwa (z wł. *diva*: boska) — gwiazda sceny, słynna śpiewaczka, aktorka lub tancerka. [przypis edytorski]

<sup>545</sup>parias — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]



Pani de Guermantes знала tych krewnych znajomością rodzinną, codzienną, pospolitą, bardzo różną od tego, co sobie wyobrażamy; o ile zaś my sami dostaniemy się w sferę tej świadomości, postęпки nasze, bynajmniej nie wyrzucone z niej niby pyłek z oka lub kropla wody z tchawicy, mogą w niej pozostać wyryte, i jeszcze po latach, kiedyśmy je sami zapomnieli, mogą być tematem rozmów i komentarzy w jakimś pałacu, gdzie odnajdujemy je ze zdumieniem, niby nasz własny list w cennej kolekcji autografów.

Zwykli światowcy mogą bronić swoich zbyt obleganych drzwi. Ale drzwi Guermantów nie oblegano. Ktoś obcy prawie nie miał sposobności przekroczyć ich. Skoro księżnej zwrócono na kogoś uwagę, nie troszczyła się o jego ewentualne walory światowe, bo to była rzecz, której ona sama używała i tym samym nie mogła jej przyjąć z zewnątrz. Brała w rachubę jedynie istotne wartości takiego człowieka, a pani de Villeparisis i Saint-Loup upewnili ją, że je posiadają. Ale z pewnością nie byłaby im uwierzyła, gdyby nie zauważyła, że nie mogą mnie nigdy ściągnąć wówczas, gdy pragną, zatem, że nie zależy mi na „świecie”, co zdawało się księżnej rękojmią, że ktoś obcy należy do „ludzi przyjemnych”.

Trzeba było widzieć, jak wśród rozmowy o kobietach, których nie bardzo lubiła, natychmiast zmieniała się księżnej twarz, jeśli z okazji którejś z tych pań wymieniło się na przykład jej bratową. „Och! urocza jest” — powiadała księżna o nieznajomej, tonem subtelnej i niezłomnej pewności. A jedyną racją, którą to uzasadniała, był fakt, że owa dama nie dała się przedstawić margrabinie de Chaussegros i księżnej Sylistrii. Ale nie dodawała, że ta dama nie zgodziła się również, aby ją przedstawiono jej samej, księżnej de Guermantes. Ale tak było, i od tego dnia myśl księżnej siliła się odgadnąć, co może się dziać w domu osoby tak trudnej do poznania. Umierała z ochoty bywania u niej. Ludzie z wielkiego świata tak przywykli być celem zabiegów, że ktoś, kto ich unika, wydaje się im jakimś feniksem<sup>546</sup> i przykuwa ich uwagę.

Czy prawdziwą pobudką zaproszenia mnie stała się w duszy księżnej de Guermantes (od czasu jak jej już nie kochałem) okoliczność, że się nie ubiegałem o towarzystwo jej krewnych, gdy oni ubiegali się o moje? Nie wiem. W każdym razie, zdecydowawszy się mnie zaprosić, chciała mnie ugościć tym, co miała najlepszego, wykluczając tych swoich bliskich, którzy mogliby mnie zrazić do jej domu, o których wiedziała, że są nudni. Nie wiedziałem, czemu przypisać zmianę kierunku księżnej, kiedym ją ujrzał, jak zbacza ze swojej astronomicznej drogi, siada koło mnie i zaprasza mnie na obiad — wszystko skutek jakichś przyczyn nieznanych, z braku specjalnego zmysłu, który by nas oświecał w tej mierze. Wyobrażamy sobie, że ludzie, których mało znamy — jak ja księżną — myślą o nas jedynie w rzadkich chwilach, kiedy nas widzą. Otóż ta idealna niepamięć, jaką im przypisujemy w stosunku do nas, jest najzupełniej dowolna. Tak iż podczas gdy w absolutnej ciszy, podobnej do ciszy pięknej nocy, wyobrażamy sobie rozmaite królowe salonów wędrujące po niebie w nieskończonej odległości, nie możemy się powstrzymać od przykrego lub miłego wstrząsu, kiedy niby aerolit<sup>547</sup> z wyrytym naszym nazwiskiem, któregośmy uważali za nieznaną na Wenus czy na Kasjopei — spadnie na nas zaproszenie na obiad albo złośliwa plotka.

Może czasem, na podobieństwo perskich królów, którzy, wedle *Księgi Estery*<sup>548</sup>, kazali sobie odczytywać rejestry, gdzie były zapisane imiona osób szczególnie im oddanych, pani de Guermantes, przeglądając listę życzliwych ludzi, powiedziała sobie o mnie: „Tęgo trzeba zaprosić na obiad”. Ale inne myśli rozproszyły jej uwagę

(Nad ważnymi sprawami nieustanna praca  
Wciąż ku nowym przedmiotom władcy myśl obraca)

<sup>546</sup>feniks — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów; wg Pliniusza na świecie miał istnieć tylko jeden Feniks; tu przen.: coś nadzwyczajnego i trudnego do znalezienia. [przypis edytorski]

<sup>547</sup>aerolit — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]

<sup>548</sup>*Księga Estera* — biblijna księga, wg której perski król Ahaszwerosz (Ahaswer) oddalił swoją piękną żonę Waszti, ponieważ podczas publicznej uczyt okazała nieposłuszeństwo jego rozkazom. Haman, pierwszy minister króla, nienawidził Żydów i skłonił władcę, by ten wydał rozkaz ich zgładzenia. Tymczasem Ahaszwerosz, szukając następczyni Waszti, pokochał i poślubił żydowską dziewczynę Esterę, która postępując wedle wskazówek swego wuja i opiekuna Mordechaja (Mardocheusza), wpłynęła na cofnięcie okrutnego zarządzenia, ocalając w ten sposób swój lud. Haman i jego synowie zostali powieszani, a miejsce niegodziwego ministra zajął Mordechaj. Na pamiątkę tego cudownego ocalenia Żydzi obchodzą święto Purim. [przypis edytorski]

aż do chwili, w której ujrzała mnie samego niby Mardocheusza u bram pałacu; skoro zaś mój widok odświeżył jej pamięć, zapagnęła mnie, niby Ahaswer, obsypać swymi dary.

Ale muszę powiedzieć, że po zdziwieniu, któremu doznał w chwili, gdy mnie pani de Guermantes zaprosiła, miało nastąpić zdziwienie wręcz przeciwnego rodzaju. Kiedym uważał za skromniejsze i wdzięczniejsze z mojej strony nie ukrywać tego pierwszego zdziwienia, ale przeciwnie, wyrazić — bodaj z przesadą — radość, jaką ono kryje, pani de Guermantes, już spiesząca się na ostatnie przyjęcie, powiedziała, niemal jako usprawiedliwienie i z obawy, że ja nie wiem dobrze, kim ona jest, skoro mnie zdziwiło, że ona mnie zaprosiła: „Pan wie, ja jestem ciotka Roberta de Saint-Loup, który pana bardzo lubi, zresztą spotkaliśmy się już tutaj”. Odrzekłem, że wiem o tym, i dodałem, że znam także pana de Charlus, który „był bardzo miły dla mnie w Balbec i w Paryżu”. Pani de Guermantes wydała się zdumiona; spojrzenia jej zdawały się kierować — jak gdyby dla sprawdzenia czegoś — na dawniejszą już stronicę wewnętrznej księgi. „Jak to, pan zna Palamedę?” Imię to nabierało w ustach pani de Guermantes wielkiej słodyczy z powodu bezwiednej prostoty, z jaką mówiła o człowieku tak świetnym, który dla niej był tylko szwagrem, kuzynem, towarzyszem lat dziecińczych. I w mętną szarość, jaką było dla mnie życie księżnej de Guermantes, imię „Palamed” wносиło jakby jasność długich letnich dni, w których bawiła się z nim jako młoda dziewczyna w parku w Guermantes. Co więcej, w owej od dawna minionej epoce ich życia Oriana de Guermantes i jej kuzyn Palamed byli bardzo różni od tego, czym się stali potem; pan de Charlus zwłaszcza, całkowicie oddany pasjom artystycznym — później tak skutecznie poskromionym, iż zdumiałem się, słysząc, że to on malował olbrzymi wachlarz w czarno-żółte irysy, który rozwijała w tej chwili księżna. Mogłaby mi także pokazać sonatinę, którą niegdyś skomponował dla niej. Nie miałem pojęcia, że baron posiada wszystkie te talenty, o których nie mówił nigdy.

Powiedzmy mimochodem, iż pan de Charlus nie był zbyt kontent, że go w rodzinie nazywano Palamedem<sup>549</sup>. Co się tyczy zdrobnienia „Mémé”, można by jeszcze zrozumieć, że mu się ono nie podoba. Te idiotyczne skróty są znakiem niezrozumienia arystokracji dla własnej poezji (judaizm okazuje zresztą takie same niezrozumienie, skoro jednego z siostrzeńców lady Rufus Israel, mającego na imię Mojżesz, nazywano potocznie w towarzystwie „Momo”), a zarazem jej troski o to, aby się nie wydawało, iż przywiązuje wagę do tego, co jest arystokratyczne. Otóż, pan de Charlus miał na tym punkcie więcej poetyckiej wyobraźni i więcej ostentacyjnej dumy. Ale przyczyną, dla której nie lubił zbyt zdrobnienia „Mémé”, było widocznie coś innego, skoro niechęć barona obejmowała także imię Palamed. Faktem jest, iż w poczuciu, że pochodzi z udzielnej rodziny, byłby chciał, aby brat i bratowa mówili o nim „Charlus”, tak jak królowa Maria Amelia lub księżę Orleanu mogli mówić o swoich dzieciach, wnukach, bratankach i braciach: „Joinville”, „Nemours”, „Chartres”, „Paris”.

— Co on za ciuciubabki urządza, ten Mémé! — wykrzyknęła księżna. — Mówiliśmy mu dużo o panu; oświadczył, że byłby bardzo rad pana poznać, absolutnie tak, jakby pana nigdy nie widział na oczy. Niech pan przyzna, że on jest zabawny i — choć to może nie bardzo ładnie z mojej strony tak mówić o szwagrze, którego uwielbiam i którego rzadkie przymioty podziwiam — chwilami trochę niepoczytalny?

Bardzo mnie uderzyło to słowo zastosowane do pana de Charlus; pomyślałem, że ta jego niepoczytalność tłumaczy może niektóre rzeczy, na przykład jego upojenie pomysłem poproszenia Blocha, aby zbił własną matkę. Uświadomiłem sobie, że pan de Charlus jest trochę niepoczytalny nie tylko w tym, co mówi, ale w sposobie, w jaki to mówi. Za pierwszym razem, kiedy się słyzy adwokata lub aktora, zdumiewa nas ich ton, tak różny od zwykłej rozmowy. Ale ponieważ zdajemy sobie sprawę, że wszyscy to uważają za całkiem naturalne, nie mówimy nic innym, nie mówimy nic samym sobie, poprzestajemy na ocenie stopnia talentu. Co najwyżej myśli się o aktorze z Komedii Francuskiej:

<sup>549</sup> *Palamed* (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odyszeusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obłąkanego; w zemście za to Odyszeusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odyszeusza i Diomedesa; wg innej wersji zabił go podczas polowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

„Czemu zamiast spuścić po prostu rękę opuszcza ją przerywanymi ruchami co najmniej przez dziesięć minut?” lub o jakimś Labori<sup>550</sup>: „Czemu, od chwili gdy otworzył usta, wydaje nieoczekiwane tragiczne dźwięki, aby powiedzieć najprostszą rzecz?”. Ale ponieważ wszyscy przyjmują to *a priori*<sup>551</sup>, nie razi to nas. Tak samo po zastanowieniu stwierdzało się, że pan de Charlus mówi o sobie z emfazą, tonem zgoła odmiennym od tonu zwykłej rozmowy. Właściwie powinno by się co chwilę mówić mu: „Ależ czemu pan tak głośno krzyczy? Czemu pan jest taki arogancki?”. Ale zdaje się, iż wszyscy akceptowali milcząco, że tak już jest. I wchodziło się w krąg osób, które przysłuchiwały się z zachwytem, gdy on perorował. Ale w pewnych momentach ktoś obcy pomyślałby, że słyszy krzyki wariata.

— Ale czy pan jest pewny, że panu się nie myli, że pan w istocie mówi o moim szwagrze Palamedzie? — dodała księżna z lekką impertynencją, jaką barwiła się u niej prostota.

Odpowiedziałem, że jestem absolutnie pewny i że pan de Charlus musiał nie dosłyszeć mego nazwiska.

— I cóż, muszę pana pożegnać — rzekła jakby z żalem pani de Guermentes. — Muszę zająć na sekundę do księżnej de Ligne. Pan tam nie idzie? Nie, pan nie lubi świata? Ma pan wielką rację, to rozpaczliwe. Gdybym ja nie musiała! Ale to moja kuzynka, to by było niegrzecznie. Żałuję tego samolubnie, dla siebie, bo mogłabym pana tam zawieść, nawet potem odwieść do domu. Ha! więc do widzenia, i cieszę się na srode.

To, że pan de Charlus wstydził się mnie przed panem d'Argencourt — przypuśćmy. Ale żeby przed własną bratową, i to mającą o nim tak wysokie pojęcie, wyparł się mojej znajomości — tak naturalnej, skoro znałem i jego ciotkę, i jego siostrzeńca — tego nie mogłem pojąć.

Trzeba mi jeszcze zaznaczyć, że z pewnego punktu widzenia pani de Guermentes posiadała prawdziwą wielkoduszność, polegającą na całkowitym wymazaniu tego, co by u innych zostawiło nieuchronne ślady. Gdyby mnie nie spotykała nagabującego ją, goniącego za nią, tropiącego ją w czasie rannych spacerów; gdyby nigdy nie odpowiadała na mój codzienny ukłon z wyraźnym znudzeniem; gdyby nigdy nie odprawiła z kwitkiem Roberta, kiedy ją błagał, by mnie zaprosiła, nie mogłaby być dla mnie szlachetniej i naturalniej uprzejma. Nie wdawała się w retrospektywne wyjaśnienia, w półsłówka, aluzje, dwuznaczne uśmiechy; w swojej obecnej życzliwości, bez oglądania się wstecz, bez zastrzeżeń, miała coś równie hardo prostolinijnego jak jej majestatyczna postawa; urazy, jakie mogła żywić do kogoś w przeszłości, były tak całkowicie obrócone w popiół, nawet ten popiół tak był wymieciony z jej pamięci lub przynajmniej z jej zachowania się, że patrząc na jej twarz w chwili, gdy traktowała z najpiękniejszą prostotą coś, co u tyłu innych byłoby pretekstem do rekryminacji<sup>552</sup> i dąsów — miało się wrażenie jakiegoś oczyszczenia.

Ale o ile czułem się zdumiony odmianą księżnej w stosunku do mnie, o ileż bardziej dziwiłem się, znajdując w sobie znacznie większą jeszcze zmianę w stosunku do niej. Jakże niedawną była chwila, kiedy odzyskiwałem życie i siły jedynie w momencie, gdy — budując wciąż nowe projekty — znalazłem kogoś, kto by mnie mógł do niej wprowadzić i kto by po tym pierwszym upojeniu dostarczył wielu innych upojeń mojemu coraz to bardziej wymagającemu sercu. Niemożność wymyślenia czegoś kazała mi jechać do Doncières do Roberta. I teraz oto miało mną wzruszenie będące następstwem jego listu, ale z powodu pani de Stermaria, nie zaś pani de Guermentes.

Aby skończyć z tym wieczorem, dodajmy, iż zaszedł na nim fakt (sprostowany w kilka dni później), który mnie zdziwił i który mnie na jakiś czas poróżnił z Blochem; fakt stanowiący sam przez się jedną z owych osobliwych sprzeczności, których objaśnienie znajdzie czytelnik z końcem następnego tomu (*Sodoma I*). Zatem tego wieczora u pani de Villeparisis Bloch wciąż wychwalał przede mną uprzejmość pana de Charlus, który kiedy go spotkał na ulicy, patrzył mu w oczy tak, jakby go znał, jakby go miał ochotę poznać, jakby doskonale wiedział, kim on jest. Uśmiechnąłem się zrazu; pamiętałem,

<sup>550</sup>Labori, *Fernand* (1860–1917) — francuski adwokat i polityk, obrońca w głośnych procesach Alfreda Dreyfusa i Émile'a Zoli. [przypis edytorski]

<sup>551</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

<sup>552</sup>*rekryminacja* (z łac.) — odpowiadanie komuś zarzutem na zarzut, wzajemne obwinianie się. [przypis edytorski]

jak ostro Bloch wyrażał się w Balbec o tym samym panu de Charlus. Pomyślałem po prostu, że Bloch, na podobieństwo swego ojca w stosunku do Bergotte'a, zna barona „ot tak”. I że to, co Bloch brał za jego uprzejmość, było po prostu roztargnieniem. Ale, ostatecznie, Bloch podawał szczegóły tak ściśle, zdawał się tak pewny, że go parę razy pan de Charlus chciał zaczepić! Przypomniałem sobie, że mówiłem o Blochu z baronem, który kiedyśmy wracali z wizyty u pani de Villeparisis, wypytywał mnie o niego; pomyślałem tedy, że może Bloch nie kłamie; może pan de Charlus dowiedział się, kim on jest i że jest moim przyjacielem, itd... Toteż w jakiś czas potem, w teatrze, spytałem pana de Charlus, czy pozwoli sobie przedstawić Blocha; skoro wyraził zgodę, poszedłem po niego. Ale z chwilą gdy go pan de Charlus spostrzegł, zdumienie (opanowane natychmiast) odbiło się na jego twarzy, aby niebawem zmienić się w najwyższą wściekłość. Nie tylko nie podał Blochowi ręki, ale za każdym razem kiedy ów coś mówił do niego, pan de Charlus odpowiadał mu w sposób wyraźnie impertynencki, zirytowanym i niegrzecznym tonem. Tak iż Bloch, który, wedle tego, co mówił, dotąd otrzymywał od barona same uśmiechy, myślał, że ja go nie poleciłem, ale obmówiłem w czasie owej krótkiej rozmowy, w której, znając drażliwość barona w kwestiach etykiety, wspomniałem mu o swoim koledze, zanim go przyprowadziłem. Bloch opuścił nas z uczuciem człowieka, który chciał dosiąść narowistego konia lub płynąć wbrew falom odrzucającym go wciąż na żwir. I nie odzywał się do mnie przez pół roku.

Dni, które poprzedziły mój obiad z panią de Stermaria, były dla mnie nie rozkoszne, ale nieznośne. Zazwyczaj im czas oddzielający nas od celu naszych pragnień jest krótszy, tym wydaje się nam dłuższy, bo mierzymy go krótszą miarą lub po prostu bo go w ogóle mierzymy. Papięstwo — powiadają — liczy czas na wieki, a może nawet wcale go nie liczy, skoro jego cel jest w nieskończoności. Mój cel był tylko na dystans trzech dni, liczyłem na sekundy, oddawałem się marzeniom stanowiącym wstęp do pieszczot, o których myśl budzi w nas wściekłość przez to, że ich nie możemy dać dokończyć samej kobiecie (właśnie tych pieszczot, z wyłączeniem wszystkich innych). I w sumie, o ile prawdą jest, że na ogół trudność osiągnięcia przedmiotu żądz wzmacnia je (trudność, nie niemożebność, bo ta je poraża), jednakże dla czysto fizycznego pragnienia pewność, iż będzie ono ziszczone w bliskim i określonym momencie, jest mało co mniej podniecająca od niepewności; brak wątpliwości, prawie tak samo jak denerwujące wątplenie, robi oczekiwanie niechybnej rozkoszy czymś nieznośnym, bo robi z tego oczekiwania ziszczenie niezliczone i — przez częstotliwość uprzednich wyobrażeń — dzieli czas na fragmenty tak drobne, jakby to mogła uczynić obawa.

Trzeba mi było posiadać panią de Stermaria, bo od kilku dni z nieprzerwaną energią pragnienia moje przygotowywały w mojej wyobraźni tę rozkosz, i tylko tę; inna (rozkosz z inną) nie byłaby gotowa, ile że rozkosz jest tylko ziszczeniem chęci uprzedniej i nie zawsze jednakiej, zmieniającej się wedle tysiącznych kombinacji marzenia, kaprysu wspomnień, stanu fizycznego, porządku rozporządzalności pragnień, z których ostatnio spełnione odpoczywają, dopóki zawód ich ziszczenia nie będzie trochę zapomniany; nie byłbym gotów, opuściłem już gościniec bezosobowych żądz i zapuściłem się w ścieżkę poszczególnego pragnienia; aby móc pożądać innej schadzki, trzeba by wrócić z nazbyt daleka po to, aby wstąpić na gościniec i skrócić w inną ścieżkę. Posiadać panią de Stermaria na wyspie w Lasku Bulońskim, dokąd ją zaprosiłem na obiad, oto rozkosz, którą sobie wyobrażałem co minutę. Zjeść obiad na tej wyspie bez pani de Stermaria byłoby unicestwieniem tej rozkoszy; ale iść na obiad nawet z nią gdzie indziej — byłoby może znacznym jej uszczupleniem. Zresztą formy, w jakich sobie wyobrażamy przyjemność, wcześniejsze są od kobiety, od rodzaju kobiet, który nadaje się do tego celu. One — te formy — narzucają go, a także miejsce, i dlatego sprowadzają kolejno, wedle kaprysu naszych myśli, taką kobietę, takie miejsce, taki pokój, którymi wzgardzilibyśmy w innym czasie. Zrodzone z pozycji, niektóre kobiety są nie do pomyślenia bez wielkiego łoża, w którym znajdujemy spokój obok nich; inne znów jako ramy dla intymniejszych pieszczot potrzebują liści kołysanych wiatrem, wód płynących w mroku nocy, są lekkie i ulotne jak one.

Z pewnością, dawno już przed listem Roberta i kiedy nie chodziło jeszcze o panią de Stermaria, wyspa w Lasku zdawała mi się stworzona dla rozkoszy, bo czasem szedłem tam poić się smutkiem, że nie mam żadnej rozkoszy, którą bym tam mógł schronić. Nad

Czas, Pożądanie

Pożądanie

brzegami jeziora wiodącymi do tej wyspy, gdzie przez ostatnie tygodnie lata przechadzają się paryżanki — te, co jeszcze nie wyjechały — błądzimy, nie wiedząc, gdzie odnaleźć ją, a nawet czy już ona nie opuściła Paryża. Błądzimy z nadzieją ujrzenia młodej dziewczyny, w której zakochaliśmy się na balu — ostatnim w tym roku — której nie będziemy już mogli ujrzeć na żadnym wieczorze przed następną wiosną. Czując, że bliski jest — a może już nastąpił — wyjazd ukochanej istoty, przebiegamy nad brzegiem drżącej wody owe piękne aleje, gdzie już pierwszy czerwony liść kwitnie niby ostatnia róża; badamy ten widnokrąg, gdzie siłą złudy odwrotnej do owych panoram, na których pierwszym planie woskowe figury dają malowanemu płótnu złudę głębi i bryły, oczy nasze, przebiegając od sztucznego parku do naturalnych wyżyn Meudon<sup>553</sup> i Mont Valerien<sup>554</sup>, nie wiedząc, gdzie postawić granicę, i wcielają prawdziwą wieś w ogrody, których sztuczny wdzięk rzutują daleko poza nie; podobnie owe rzadkie ptaki, wychowane na wolności w botanicznym ogrodzie, co dnia wedle kaprysu swoich skrzydlatych spacerów wnoszą nawet w sąsiednie lasy egzotyczną nutę. Między ostatnim świętem lata a wygnaniem zimy przebiegamy trwożliwie romantyczne królestwo niepewnych spotkań i melancholii miłosnych i nie bardziej zdziwilibyśmy się, znajdując je poza geograficznym wszechświatem, co gdybyśmy w Wersalu, na wyżynie terasy, tego obserwatorium, dokoła którego chmury gromadzą się na błękitnym niebie w stylu Van der Meulena<sup>555</sup>, wzniosłszy się w ten sposób poza naturę, dowiedzieli się, że tam, gdzie się ona na nowo zaczyna, na skraju wielkiego kanału, wioski, majaczące na widnokręgu olśniewającym jak morze, nazywają się Fleurus lub Nijmegen<sup>556</sup>.

I skoro minął ostatni ekwipaż<sup>557</sup>, kiedy uczujemy z bólem, że ona już nie przyjdzie, idziemy na obiad na wyspę; ponad drżącymi topolami, które raczej przypominają bez końca tajemnice wieczoru, niż odpowiadają na nie, różowa chmura kładzie ostatnią barwę życia na ukojonym niebie. Kilka kropel dżdżu spada bez szelestu na wodę — starożytną, ale w swym boskim dziecięctwie wciąż zachowującą barwę czasu i zapominającą co chwila obrazu chmur i kwiatów. I gdy geranie, natężając siłę swoich kolorów, znużą się w daremnej walce przeciw gęstniejącemu zmierzchowi, mgła spowija wyspę, która zasypia; przechadzamy się w wilgotnym mroku nad wodą, gdzie co najwyżej milcząca smuga łabędzia zdumiewa cię niby w łóżku w nocy szeroko otwarte przez chwilę oczy i uśmiech dziecka, które, wbrew naszemu spodziewaniu, nie śpi. Wówczas człowiek chciałby tym bardziej mieć przy sobie kochankę, bo czuje się samotny, i może mieć wrażenie, że jest daleko.

A o ileż byłbym szczęśliwszy, gdybym na tę wyspę, gdzie nawet w lecie była często mgła, mógł zawieść panią de Stermaria teraz, kiedy się skończyły pogody, kiedy był już schyłek jesieni. Jeżeli czas trwający od niedzieli nie zmienił sam przez się w szary i morski pejzaż krain, w których żyła moja wyobraźnia — tak jak inne pory roku czyniły je czymś balsamicznym, promiennym i włoskim — nadzieja posiadania za kilka dni pani de Stermaria wystarczyłaby, aby dwadzieścia razy na godzinę podnosić zasłonę mgły w mojej wyobraźni, wezbranej monotonną nostalgią. Bądź co bądź, mgła, która od wczoraj zaległa nawet Paryż, nie tylko kazała mi wciąż myśleć o rodzinnych stronach tej oczekiwanej młodej kobiety; ale ponieważ prawdopodobne było, że mgła — o wiele gęstsza jeszcze niż w mieście — zagarnie wieczorem Lasek, zwłaszcza brzegi jeziora, marzyłem, że z Wyspy Łabędziej<sup>558</sup> uczyni mi po trosze wyspę bretońską, której morska i mglista atmosfera zawsze spowijała dla mnie na kształt sukni bladą sylwetkę pani de Stermaria. Z pewnością, kiedy się jest młodym, w wieku moich przechadzek w stronę Méséglise, nasze pragnienie, nasza wiara użyczają strojowi kobiety czegoś indywidualnego, odrębnego, jakiejś nienaruszalnej istności. Ścigamy realność. Ale czując, jak się wciąż wymyka, spostrzegamy w końcu, iż poprzez wszystkie te czcze usiłowania, w których znalazło się nicość, pozostaje coś trwałego — i tegośmy właśnie szukali. Zaczynamy wylaniać, po-

<sup>553</sup>Meudon — położone na wzgórzach przedmieście Paryża. [przypis edytorski]

<sup>554</sup>Mont Valerien — wzgórze położone kilka kilometrów na zachód od Paryża. [przypis edytorski]

<sup>555</sup>Meulen, Adam Frans van der (1632–1690) — malarz flamandzki, nadworny malarz Ludwika XIV, znany szczególnie ze scen batalistycznych. [przypis edytorski]

<sup>556</sup>Fleurus i Nijmegen — Fleurus: miasto w Belgii; Nijmegen: miasto we wschodniej Holandii. [przypis edytorski]

<sup>557</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]

<sup>558</sup>Wyspa Łabędzia — niewielka sztuczna wyspa na Sekwanie w Paryżu. [przypis edytorski]

znawać to, co kochamy, staramy się to uzyskać, choćby za cenę jakiejś sztuczki. Wówczas, gdy się straciło wiarę, kostium oznacza zastąpienie jej dobrowolną złudą. Wiedziałem, że o pół godziny od domu nie znajdę Bretanii. Ale przechadzając się w uścisku z panią de Stermaria w mrokach wyspy, nad wodą, zrobiłbym jak ci, co nie mogąc się wdrzeć do klasztoru, przebierają bodaj za mniszkę kobietę, którą mają osiąść.

Mogłem nawet mieć tę nadzieję, że będę słuchał z panią de Stermaria plusku fal, bo w wilię naszego obiadu rozpętała się burza. Zaczynałem się golić, aby pojechać na wyspę zamówić gabinet (mimo że w tej porze roku wyspa jest pusta, a restauracja wyludniona) i ustalić menu na jutrzejszy obiad, kiedy Franciszka oznajmiła Albertynę. Wpuściłem ją natychmiast, obojętny na to, że mnie ujrzy brzydkim, nieogolonym; ona, dla której w Balbec nigdy nie czułem się dość piękny i która mnie kosztowała wówczas tyle wzruszeń i trudów co teraz pani de Stermaria. Zależało mi na tym, aby tamta odniosła najlepsze wrażenie z jutrzejszego wieczoru. Toteż poprosiłem Albertynę, żeby się wybrała ze mną na wyspę i pomogła mi ułożyć menu. Tę, której się daje wszystko, tak rychło luzuje inna, że sami się dziwimy, oddając to, co mamy na nowo, o każdej godzinie, bez nadziei przyszłości. Na moją propozycję uśmiechnięta i różowa twarz Albertyny pod płaskim i bardzo nisko, aż na oczy spuszczonej toczkiem zdawała się wahać. Albertyna musiała mieć inne projekty; w każdym razie poświęciła mi je łatwo, ku memu wielkiemu zadowoleniu, bo mi bardzo zależało na tym, aby mieć z sobą młodą gosposię, która potrafi zamówić obiad o wiele lepiej ode mnie.

To pewne, iż Albertyna była dla mnie czymś całkiem innym w Balbec. Ale nasza zażyłość — nawet kiedy się nam wydaje wówczas nie dość bliska — z kobietą, w której jesteśmy zakochani, stwarza między nią a nami — mimo braków, które nas ranią wówczas — węzły, które przetrwają miłość, a nawet wspomnienie miłości. Wówczas gdy ta istota jest już dla nas tylko środkiem i drogą do innych kobiet, ze zdziwieniem i rozbawieniem dowiadujemy się od naszej pamięci, ile niezwykłych rzeczy oznaczało jej imię dla owej innej istoty, którą byliśmy niegdyś. To jest bez mała tak, co gdybyśmy, rzuciwszy woźnicy adres — bulwar des Capucines lub ulica du Bac — myśląc jedynie o osobie, którą tam mamy odwiedzić, spostrzegli się nagle, że ta nazwa była niegdyś nazwą kapucynek, których klasztor znajdował się w tym miejscu, i nazwą promu (*bac*), który przebywał Sekwanę.

Niewątpliwie moje pragnienia z czasu Balbec spulchniły tak soczyście ciało Albertyny, zgromadziły w niej smaki tak świeże i słodkie, że w czasie naszej jazdy przez Lasek, gdy wiatr, niby staranny ogrodnik, wstrząsał drzewa, strącał owoce, zamiatał zeschłe liście, powiadałem sobie, iż gdyby groziło to, że Saint-Loup się pomylił lub że ja źle zrozumiałem jego list, i gdyby obiad mój z panią de Stermaria miał spalić na panewce, naznaczyłbym schadzki na ten sam wieczór — bardzo późno — Albertynie, aby w godzinie czystej rozkoszy, trzymając w ramionach ciało kipiące obecnie wszystkimi urokami, jakie ciekawość moja rozbierała i ważyła niegdyś, zapomnieć wzruszeń, a może smutków rozpoczynającej się miłości do pani de Stermaria. I z pewnością, gdybym mógł przypuszczać, że pani de Stermaria nie użyczy mi nic owego pierwszego wieczora, przedstawiałbym sobie ten wspólny wieczór dosyć żałośnie. Wiedziałem zbyt dobrze z doświadczenia, w jaki sposób dwa stadia, zachodzące w nas kolejno w początkach miłości dla kobiety, której pragnęliśmy na nieznane, Kochając w niej nie tyle ją samą, jeszcze prawie obcą, ile owo swoiste życie, w jakim jest zanurzona — w jaki sposób te dwa stadia dziwacznie odbijają się w dziedzinie faktów, to znaczy już nie w nas samych, ale w naszych schadzkiach z tą kobietą. Nigdy nie mając sposobności z nią rozmawiać, wahaliśmy się, kuszeni poezją, jaką ona dla nas wciela. Czy to będzie ona, czy jakaś inna? I oto marzenia skupiają się dokoła niej, tworzą z nią już jedno. Pierwsza schadzka, która nastąpi niebawem, powinna by odbijać tę rodzącą się miłość. Nic podobnego. Jak gdyby było trzeba, aby i realne życie miało swoje pierwsze stadium, Kochając ją już, mówimy do niej najbardziej zdawkowo: „Zaprosiłem panią na obiad na tę wyspę, bo myślałem, że ta rama się pani spodoba. Nie mam pani zresztą nic specjalnego do powiedzenia. Ale boję się, że jest wilgoć i że pani będzie zimno”. — „Ale nie”. — „Pani to mówi przez uprzejmość. Pozwalam pani borykać się jeszcze przez kwadrans z zimnem, aby pani nie dokuczać, ale za kwadrans odwożę panią przemocą. Nie chcę, żeby pani dostała kataru”. I odwozimy ją do domu, nie powiedziawszy jej nic, nie zapamiętawszy z niej nic — co najwyżej pewien sposób patrzenia — ale myśląc tylko o tym, aby ją widzieć na nowo. Otóż, za drugim razem (nie odnajdując

Miłość

Miłość

już nawet tego spojrzenia, jedyne wspomnienia, ale myśląc wciąż, tylko o tym, aby ją ujrzeć znowu) przebyliśmy pierwsze stadium. Nic wśród tego nie zaszło. A przecież zamiast mówić o komforcie restauracji mówimy, nie budząc zdziwienia w nowej osobie, która się nam wydaje brzydka, ale której myśl chcielibyśmy zaprzętać w każdej minucie jej życia: „Będziemy mieli sporo roboty z tym, aby pokonać wszystkie przeszkody piętrzące się między naszymi sercami. Czy myśli pani, że to osiągniemy? Czy wyobraża sobie pani, że zdołamy pokonać naszych wrogów, że możemy się spodziewać szczęśliwej przyszłości?” Ale te rozmowy, zrazu nieznaczące, potem zawierające aluzje do miłości, nie będą potrzebne; mogą w tym wierzyć listowi Roberta. Pani de Stermaria odda mi się od pierwszego dnia, nie potrzebuję tedy zamawiać do siebie Albertyny jako namiastkę na koniec wieczoru. To jest zbyteczne, Robert nie przesadza nigdy, a list jego był jasny!

Albertyna prawie się nie odzywała do mnie, czuła, że jestem myślami daleko. Przeszliśmy kilka kroków pieszko pod zielonkawą, niemal podmorską grotą drzew, nad której sklepieniem słyszeliśmy szum wiatru i plusk deszczu. Idąc, miażdżyłem zeschnięte liście, które wgniatały się w ziemię jak muszle, i potraçałem laską kasztany, kłujące jak jeżowce.

Na gałęziach ostatnie pokurczone liście biegly za wiatrem jedynie na długość swojej uwięzi, ale czasem, gdy ta się skruszyła, spadały na ziemię i doganiały go pędem. Myślałem z radością, że jeżeli ten czas przetrwa, wyspa będzie jutro jeszcze dalsza, a w każdym razie całkiem pusta. Wsiadliśmy znów do powozu, że zaś zawierucha uspokoiła się, Albertyna prosiła, aby pojechać aż do Saint-Cloud<sup>559</sup>. Jak dołem zwiędłe liście, tak w górze chmury biegly z wiatrem. A wędrownie wieczory, których różowe, niebieskie i zielone warstwy ukazywał stożkowaty wykrój nieba, były już przygotowane dla piękniejszych klimatów. Aby obejrzeć z bliska marmurową boginię, która zrywała się ze swego cokołu i sama jedna w wielkim lesie — jak gdyby jej poświęconym — wypełniała go pół zwierzęcą, pół świętą mitologiczną grozą swoich wściekłych skoków, Albertyna wdrapała się na wzgórek, gdy ja czekałem na drodze. Ona sama, widziana tak z dołu, już nie tęga i nabita, jak wówczas na moim łóżku, kiedy tkanka jej szyi nastroczała się lupie moich zbliżonych oczu, ale cyzelowana i delikatna, zdawała się posążkiem powleczonym patyną szczęśliwych chwil w Balbec.

Kiedym się znalazł sam w domu, przypominając sobie, że byłam popołudniu na spacerze z Albertyną, że pojutrze mam obiad u pani de Guermites i że mam odpowiedzieć na list Gilberty — trzy kobiety, które niegdyś kochałem — powiedziałem sobie, że nasze życie jest, jak pracownia artysty, pełne porzuconych szkiców, w których próbowaliśmy przez chwilę ustalić swoją potrzebę wielkiej miłości; ale nie pomyślałem, iż czasem, kiedy szkic nie jest zbyt dawny, może się zdarzyć, że go podejmiemy na nowo i stworzymy zeń dzieło zupełnie odmienne, może nawet ważniejsze niż to, któreśmy zamierzali zrazu.

Nazajutrz było zimno i ładnie; czuło się zimę (i w istocie, jak na tę porę, to był cud, żeśmy znaleźli w spustoszonej już Łasku parę kopułek zielonego złota). Budząc się, ujrzałem — niby z okna koszar w Doncières — matową, jednostajną i białą mgłę, która wisiała wesoło u słońca, zwarta i słodka jak cukier lodowaty<sup>560</sup>. Potem słońce schowało się, a mgła zgęstniała jeszcze w ciągu popołudnia. Zmrok zapadł rychło, ubrałem się, ale było jeszcze za wcześnie; umyśliłem posłać powóz po panią de Stermaria. Nie śmiałem sam pojechać, aby jej nie narzucać swego towarzystwa; ale przesłałem jej przez stangreta bilecik, gdzie pytałem, czy mi pozwoli zajechać po siebie. W oczekiwaniu wyciągnąłem się na łóżku, zamknąłem na chwilę oczy, potem otworzyłem je. Nad frankami była już tylko wąska smuga ciemniejącego dnia. Poznałem tę bezużyteczną godzinę, głęboki przedświecie rozkoszy, z którego ciemną i rozkoszną pustką zapoznałem się w Balbec, kiedy sam w swoim pokoju jak teraz, gdy wszyscy inni jedli obiad, patrzyłem bez smutku na to, jak dzień umiera nad frankami, wiedząc, iż niebawem, po nocy równie krótkiej jak noce podbiegunowe, wskrzeszenie świetniejszy jeszcze w blaskach Rivebelle. Wskoczyłem z łóżka, zawiązałem czarny krawat, przyczesałem włosy — ostatnie gesty spóźnionej toalety, wykonywane w Balbec z myślą nie o sobie, ale o kobietach, które ujrzę w Rivebelle, do których uśmiechałem się zawczasu w swoim pochyłym lustrze; gesty utrwalone tym samym jako wróżba rozrywki pełnej światła i muzyki. Wywoływały ją one niby magicz-

<sup>559</sup> *Saint-Cloud* — miejscowość nad Sekwaną, na zach. przedmieściach Paryża, z barokowym parkiem, pozostałością dawnej rezydencji królewskiej. [przypis edytorski]

<sup>560</sup> *cukier lodowaty* — cukier trzcinowy w postaci dużych kryształów, dawny smakołyk. [przypis edytorski]

ne znaki; co więcej, realizowały ją już; dzięki nim miałem pełną świadomość jej prawdy, pełne użycie jej upajającego i lekkiego czaru, jak niegdyś w Combray w lipcu, kiedy słyszałem uderzenia młotka przy zabijaniu pak i kiedy się syciłem w chłodzie swego mrocznego pokoju upałem i słońcem.

Toteż już niezupełnie panią de Stermaria byłbym pragnął widzieć. Zmuszony teraz spędzić z nią wieczór, byłbym wolał — skoro ten wieczór był moim ostatnim przed powrotem rodziców — żeby został wolny i żebym mógł się starać odnaleźć kobiety z Rivabelle. Umyłem jeszcze ostatni raz ręce i wędrując w upojeniu szczęścia po domu, wytarłem je w ciemnej jadalni. Zdawało mi się, że drzwi do oświetlonego przedpokoju są otwarte, ale to, co wziął za jasną szczelinę drzwi (które, przeciwnie, były zamknięte), było jedynie białym odbiciem mojego ręcznika w opartym o ścianę lustrze, które miano powiesić na powrót mamy. Pomyślałem znów o wszystkich cudach, które w ten sposób odkryłem w naszym mieszkaniu — cudach nie tylko optycznych, bo w pierwszych dniach sądziłem, że nasza sąsiadka ma psa, a to z powodu przeciągłego, niemal ludzkiego skuczenia, jakie wydawała rura w kuchni, ilekroć się otwarło kurek. A drzwi od sieni zamykały się same z siebie bardzo wolno od przeciągu ze schodów, powodując przy tym urywki rozkosznych i jęklanych fraz, jakie się piętrzą w chórze pielgrzymów pod koniec uwertury z *Tannhäusera*<sup>561</sup>.

Kiedy wiesział ręcznik na swoim miejscu, miałem zresztą sposobność uzyskać nową audycję<sup>562</sup> tej olśniewającej symfonii, kiedy, usłyszawszy dzwonek, pobiegłem otworzyć stangretowi wracającemu z odpowiedzią. Myślałem, że odpowiedź będzie: „Ta pani jest na dole”, albo: „Pani czeka na pana”. Ale on miał w ręce list. Ociągałem się chwilę z przeczytaniem tego, co napisała do mnie pani de Stermaria; tego co, póki ona trzymała pióro w ręce, mogłoby być czymś innym, ale co teraz, oderwane od niej, stało się losem, który sam kroczył swoją drogą i w którym ona nie mogła już nic zmienić. Prosiłem stangreta, aby zszedł na dół i zaczął chwilę, mimo że psioczył na mgłę. Gdy odszedł, otworzyłem kopertę. Bilet: „Wicehrabina Alix de Stermaria”. Pisała: „Jestem w rozpacz — nagle przeszkody — niepodobna mi dziś spędzić z panem wieczoru na Wyspie. A tak się cieszyłam! Napiszę do pana dłużej ze Stermaria. Żałuję. Serdeczności”.

Stałem bez ruchu, ogłuszony ciosem. Bilet i koperta upadły do moich stóp, niby zatyczka z fuzji po wystrzale. Podniosłem bilet, zanalizowałem to zdanie.

„Powiada, że nie może spędzić ze mną wieczoru na wyspie. Można by stąd wywnioskować, że mogłaby spędzić ze mną wieczór gdzie indziej. Nie będę tak niedyskretny, aby iść po nią, ale ostatecznie, to by można tak rozumieć...”

A ponieważ moja myśl od czterech dni zainstalowała się na tej wyspie z panią de Stermaria, nie umiałem jej stamtąd ściągnąć. Moje pragnienie wracało mimo woli na pochyłość, po której bieгло już od tyłu godzin, i mimo tego biletu, zbyt świeżego, aby je mógł przeważyć, przygotowywałem się instynktownie do wyjścia, jak uczeń ścięty przy egzaminie chciałby odpowiedzieć jeszcze na jedno pytanie. Zdecydowałem się w końcu powiedzieć Franciszce, żeby zeszła zapłacić stangreta. Przebyłem korytarz, nie znajdując Franciszki, minąłem jadalnię; naraz, kroki moje przestały się rozlegać na posadzce, stłumione w ciszy, która — nim jeszcze poznałem jej przyczynę — dała mi wrażenie duszności i zamknięcia. Były to dywany, które zaczęto przybijać na powrót rodziców; owe dywany tak piękne w szczęśliwe poranki, kiedy pośród nieładu słońce oczekuje nas niby kompan przybyły po to, aby nas wyciągnąć na śniadanie na wieś, i kładzie na nich spojrzanie lasu; ale teraz, przeciwnie, były one pierwszym sprzętem zimowego więzienia, skąd — zmuszony teraz żyć i jadać w rodzinie — nie będę się już mógł swobodnie wymykać.

— Niech się panicz nie przewróci, jeszcze nie przybite — krzyknęła Franciszka. — Trza mi było zapalić lampę. Już jest koniec *wrząsnia*, koniec pięknych dniów.

<sup>561</sup> *Tannhäuser* — trójaktowa opera Richarda Wagnera z 1845, o perypetiach rycerza-śpiewaka, który odnalazł legendarną górę bogini miłości. [przypis edytorski]

<sup>562</sup> *audycja* — tu z fr.: seans muzyczny, przesłuchanie utworu muzycznego. [przypis edytorski]



Niebawem przyjdzie zima; na oknie, w rogu, niby na szkle Gallégo<sup>563</sup>, żyła stwardniałego śniegu; i nawet na Polach Elizejskich w miejsce oczekiwanych dziewcząt nic, tylko wróble.

Rozpacz moją, że nie zobaczę pani de Stermaria, pomnażała jedna okoliczność. Odpowiedź jej pozwałała mi przypuszczać, że gdy ja z godziny na godzinę od niedzieli żyłem tylko tym obiadem, ona nie pomyślała o nim z pewnością ani razu. Później dowiedziałem się o jej niedorzecznym małżeństwie z miłości z pewnym młodym człowiekiem, którego już musiała widywać wówczas i który zapewne dał jej zapomnieć o moim zaproszeniu. Bo gdyby o nim pamiętała, nie byłaby — rzecz prosta — czekała powozu, aby mnie uprzedzić, że nie jest wolna, zwłaszcza iż wedle tego, jakieśmy się umówili, nie miałem po nią posyłać. Moje marzenia o feudalnej dziewicy na wyspie mgieł utorowały drogę nieistniejącej jeszcze miłości. Teraz mój zawód, gniew, rozpaczliwa żądza pochwylenia tej, co mi się wymykała, mogły, podniecając moją wrażliwość, utrwalić możebną miłość, którą dotąd nastreślała mi jedynie moja wyobraźnia, ale miękcej.

Ileż jest w naszych wspomnieniach — bardziej jeszcze w naszym zapomnieniu — owych przeróżnych twarzy młodych dziewcząt i młodych kobiet, którym przydało uroku — a nam wścieklej ochoty ujrzenia ich znowu — jedynie to, że się nam w ostatniej chwili wymknęły. W stosunku do pani de Stermaria było to o wiele więcej. Teraz, aby ją pokochać, wystarczyło mi ujrzeć ją znowu, iżby się odnowiły owe tak żywe, ale zbyt krótkie wrażenia, których pamięć nie zdołałaby inaczej zachować w jej nieobecności. Okoliczności zdecydowały inaczej, nie ujrzałem jej już. Nie ją pokochałem, ale mogłem pokochać ją. I to była rzecz, która mi może najbardziej zatrula wielką miłość, jaka się miała we mnie zrodzić niebawem: kiedym sobie przypominał ten wieczór, powiadałem sobie, że ta miłość mogła — gdyby bardzo proste okoliczności były inne — skierować się gdzie indziej, na panią de Stermaria; zwrócona do osoby, która ją wzbudziła we mnie rychło potem, nie była tedy — jak w to chciałbym i potrzebowałbym wierzyć — czymś absolutnie koniecznym i przeznaczonym.

Franciszka zostawiła mnie samego w jadalni, powiadając, że nie powinien tam siedzieć, nim ona rozpali ogień. Miała przyrządzić obiad, bo moja klauzura zaczynała się tego wieczoru, jeszcze przed przyjazdem rodziców. Spostrzegłem ogromną pakę dywanów, jeszcze zwiniętych, które Franciszka złożyła koło kredensu; kryjąc w nich głowę, łykając kurz i własne łzy, podobny Żydom, którzy w żalobie posypywali sobie głowę popiołem, zacząłem szlochać. Trzęsłem się, nie tylko dlatego, że w pokoju było zimno, ale dlatego, że pewne łzy, które spływają z oczu kroplą po kropli — niby drobny, przenikliwy, lodowaty, beznadziejny deszcz — powodują znaczny spadek temperatury (którego niebezpieczeństwu i — wyznajmy to — lekkiej przyjemności nie staramy się przeciwdziałać). Naraz usłyszałem głos:

— Czy można wejść? Franciszka powiedziała mi, że ty musisz być w jadalni. Wstąpiłem spytać, czy nie zechciałbyś iść ze mną gdziekolwiek na obiad, jeżeli ci to nie zaszkodzi, bo mgła jest taka, że można ją krajać nożem.

Był to Saint-Loup, który przybył rano, wówczas kiedy myślałem, że jest jeszcze w Maroku lub na morzu.

Powiedziałem już (a w Balbec właśnie Saint-Loup mimo woli bardzo mi pomógł uświadomić to sobie), co sędzę o przyjaźni; mianowicie, że to jest coś tak mało wartościowego, iż trudno mi zrozumieć, aby ludzie niepospolici, na przykład taki Nietzsche<sup>564</sup>, mogli jej naiwnie przypisywać pewną wartość intelektualną, i co za tym idzie starali się unikać przyjaźni niezłączonej z szacunkiem intelektualnym. Tak, to mnie zawsze przejmowało zdumieniem; człowiek, który szczerą wobec samego siebie posuwał tak daleko, aby się przez skrupuł sumienia oderwać od muzyki Wagnera<sup>565</sup>, a który sobie wyobrażał,

<sup>563</sup>Gallé, *Émile* (1846–1904) — francuski projektant; tworzył głównie projekty dzieł ze szkła, projekty mebli oraz biżuterii w stylu secesji. [przypis edytorski]

<sup>564</sup>Nietzsche, *Friedrich* (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>Wagner, *Richard* (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*,

że prawda może się ziścić w tej formie wyrazu z natury rzeczy mętnej i niepełnej, jaką są na ogół uczynki, a w szczególności przyjaźnie; który wierzył, że mógłby mieć jakiegokolwiek znaczenie fakt porzucenia swojej pracy po to, aby odwiedzić przyjaciela i płakać z nim, słysząc fałszywą wieść o pożarze Luwru. Doszedłem w Balbec do tego, że przyjemność bawienia się z młodymi dziewczętami wydawała mi się mniej zgubna dla życia duchowego (któremu bodaj pozostaje obca) niż przyjaźń, której cały wysiłek zmierza ku temu, abyśmy poświęcili ową jedynie realną i niedającą się udzielić (inaczej niż za pośrednictwem sztuki) część samych siebie dla jakiegoś powierzchownego „ja”, które nie znajduje, jak tamto, radości w sobie samym, ale czerpie mętne roztkliwienie stąd, że czuje zewnętrzne podpórki, że znajduje gościnę w cudzej indywidualności, gdzie, szczęśliwie ze znalezionej opieki, wydziela swoje samozadowolenie w uznaniu i zachwyca się przymiotami, które w sobie samych nazwalibyśmy wadami i staralibyśmy się z nich poprawić. Zresztą ludzie gardzący przyjaźnią mogą, bez złudzeń, a nie bez wyrzutów, być najlepszymi przyjaciółmi w świecie, tak samo jak artysta noszący w sobie arcydzieło i świadom, iż obowiązkiem jego byłoby żyć dla swojej pracy, mimo to, aby się nie wydać egoistą — lub nie stać się nim — oddaje życie za bezużyteczną sprawę, i odda je tym mężniej, im bezinteresowniejsze są racje, dla których wolałby go nie oddać.

Ale jaki bądź był mój sąd o przyjaźni, nawet co do przyjemności, jaką mi dawała, przyjemności tak miernej, że stanowiła coś pośredniego między zmęczeniem a nudą, nie ma tak złowrogiego napoju, iżby nie był w pewnych godzinach szacowny i krzepiący, dając nam smagnięcie batem, któregośmy potrzebowali, ciepło, którego nie możemy znaleźć w sobie samych.

Byłem z pewnością bardzo daleki od tego, aby prosić Roberta (jak tego pragnąłem przed godziną), żeby mnie spiknął z kobietami z Rivebelle; osad żalu za panią de Stermaria nie dał się zatrzeć tak szybko; ale gdy Saint-Loup zjawił się tak w chwili, kiedy już nie czułem w sercu żadnej racji szczęścia, odczułem jakby przypływ dobroci, wesołości, życia, które były niewątpliwie poza mną, ale nastęczały mi się, pragnęły mi się udzielić. Sam Robert nie zrozumiał mego okrzyku wdzięczności i moich łez rozczulenia. Cóż może być zresztą paradoksalniej serdecznego niż jeden z owych przyjaciół — dyplomata, podróżnik, lotnik, wojskowy — jakim był Saint-Loup; przyjaciel, który jadąc nazajutrz na wieś, a stamtąd Bóg wie dokąd, najwidoczniej znajduje w oddanym nam wieczorze tyle szczęścia. Aż się dziwimy, że wrażenie to — tak rzadkie przecież i krótkie — może być dla nich czymś tak słodkim i że — skoro im jest tak miłe — nie przeciągają go dłużej lub nie powtarzają go częściej. Obiad z nami — rzecz taka naturalna — daje tym podróżnikom tę samą osobliwą i rozkoszną przyjemność, jaką nasze bulwary dają Azjaciom.

Wybraliśmy się razem na obiad. Schodząc, przypomniałem sobie Doncières, gdzie się co wieczór spotykał z Robertem w restauracji; znów ujrzałem te zapomniane salki jadalne. Przypomniałem sobie jedną, o której nigdy potem nie myślałem; to nie było w hotelu, gdzie Saint-Loup zwykle jadał, ale w innym, o wiele skromniejszym — coś pośredniego między hotelem a pensjonatem — gdzie podawała do stołu właścicielka przy pomocy służącej. Śnieg mnie tam zatrzymał. Zresztą Robert nie miał jeść tego wieczora w hotelu, a ja nie miałem ochoty iść dalej. Podano mi obiad na górze w drewnianej izdebce. Podczas obiadu zgasła lampa; służąca przyniosła dwie świece. Ja, udając, że nie bardzo widzę, kiedy jej podawał swój talerz, podczas gdy mi nakładała ziemniaki, ująłem jej nagie ramię jak gdyby dla pokierowania nim. Widząc, że nie usuwa ramienia, zacząłem je pieścić, po czym bez słowa przyciągnąłem ją do siebie całą, zgasilem świecę i powiedziałem, żeby mnie obszukała i zabrała mi wszystkie pieniądze. Przez następne dni miałem uczucie, że dla kosztowania fizycznej rozkoszy trzeba mi nie tylko tej służącej, ale tej drewnianej i tak zacisznej jadalni. Ale przez przyzwyczajenie, przez przyjaźń aż do wyjazdu z Doncières chodziłem co wieczór tam, gdzie jadał Robert i jego przyjaciele. A przecież nawet o tym hotelu, gdzie on się stołował z przyjaciółmi, od dawna już nie pomyślałem! Nie korzystamy prawie z naszego życia, porzucamy niedokończone w letnich zmierzchach lub we wczesnych zimowych nocach godziny, w których — mniemaliśmy — mogło się mieścić dla nas trochę spokoju lub przyjemności. Ale te godziny

---

tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji. [przypis edytorski]

nie są zupełnie stracone. Kiedy w nas zaśpiewają z kolei nowe momenty rozkoszy, które tak samo minęłyby równie wątle i jednowymiarowe, owe godziny dają im podmurowanie, gęstość bogatej instrumentacji. Rozciągają się w ten sposób aż do jednego z owych typowych szczęść, które odnajdujemy jedynie od czasu do czasu, ale które nie przestają istnieć; w danym wypadku było nim porzucenie wszystkiego innego po to, aby zjeść obiad w dostatniej ramie, siłą wspomnień zamykającej w obrazie natury nadzieje podróży — podróży z przyjacielem, który poruszy nasze drzemiące życie całą swoją energią, całą swoją serdecznością, udzieli nam tkliwej przyjemności, bardzo różnej od tej, jaką moglibyśmy zawdzięczać własnemu wysiłkowi lub światowym rozrywkom; poświęcimy się tylko jemu, obsypimy go zaklęciami przyjaźni; zrodzone w ścianach tej godziny i w niej zamknięte, zaklęcia te rozwiją się może nazajutrz, ale mogłem je dawać bez skrupułu Robertowi, skoro, z męstwem, które mieściło wiele roztropności oraz przeczucie, że przyjaźni nie da się zgłębić, nazajutrz miał wyjechać.

Tak, idąc po schodach, przeżywałem na nowo wieczory w Doncières. Kiedyśmy wyszli nagle na ulicę, była prawie zupełna noc; zdawało się, że mgła pogasiła latarnie; dostrzegało się je, bardzo słabo, jedynie całkiem z bliska. Przypomniał mi się jakiś przyjazd wieczorem do Combray, kiedy miasteczko jeszcze było oświetlone jedynie z rzadka i kiedy się szło po omacku w wilgotnej, ciepłej i świętej ciemności — ciemności żłóbka — ledwie rozgwieżdżonej tu i ówdzie światelkiem, błyszczącym nie jaśniej od świecy. Cóż za różnice między tym rokiem — niepewnym zresztą — pobytu w Combray a oglądanymi dopiero co przez szczelinę firanek wieczorami w Rivebelle! Odczuwanie tych różnic budziło we mnie entuzjazm, który mógłby być płodny, gdybym został sam, oszczędziłby mi w ten sposób zwłoki wielu daremnych lat, które miałem jeszcze przeżyć, zanim się objawiło niewidzialne powołanie, którego to dzieło jest historią. Gdyby się to zdarzyło tego wieczora, ów powóz powinien by mi zostać bardziej pamiętny niż powóz doktora Percepied, w którym, na kozłach, ułożyłem ów opis — właśnie niedawno odnaleziony, przejrany i daremnie posłany do „Figara” — wieź w Martinville. Czy to dlatego, że nie przeżywamy na nowo swoich lat w ich ciągłości, dzień po dniu, ale we wspomnieniu stężałym w chłodzie lub słońcu poranka albo wieczora, biorącego cień od jakiegoś widoku wyodrębnionego, ogrodzonego, nieruchomego, zatrzymanego i zgubionego, z dala od wszystkiego innego, i że w ten sposób, zmiany, stopniowane nie tylko na zewnątrz, ale w naszych marzeniach i w naszym przeobrażającym się charakterze, wiodące nas nieznacznie w życiu od jednej epoki do drugiej, bardzo odmiennej, usunięte nagle, jeżeli przeżywamy inne wspomnienie zaczerpnięte z innego roku, znajdujemy między nimi, dzięki lukom, dzięki olbrzymim płaszczyznom zapomnienia, jak gdyby przepastną różnicę wysokości, jakby niewspółmierność dwóch niedających się porównać jakości wdychanej atmosfery i otaczających barw? Ale między wspomnieniami, jakie oto odnalazłem kolejno: Combray, Doncières, Rivebelle, czułem w tej chwili — o wiele bardziej niż odległość czasu — odległość zachodzącą między różnymi światami o różnej materii. Gdybym chciał w jakimś utworze naśladować tę, w której jawiły mi się cyzelowane najbliźsze moje wspomnienia z Rivebelle, trzeba by mi substancję, dotąd pokrewną ciemnemu i szorstkiemu kamieniowi z Combray żyłkować różowo, uczynić ją nagle przezroczystą, zwartą, świeżą i dźwięczną.

Ale Robert, skończywszy tłumaczyć woźnicy adres, siadł ze mną do powozu. Myśli, które mi się zjawiały, pierzchły. To są boginie, które raczą się czasem objawić samotnemu śmiertelnikowi, na zakręcie drogi, nawet w jego pokoju, podczas gdy śpi, one zaś, stojąc w drzwiach, przynoszą mu swoje zwiastowanie. Ale z chwilą gdy się jest we dwóch, znikają; w towarzystwie ludzie nie oglądają ich nigdy. I uczułem się strącony w przyjaźń.

Wchodząc, Robert uprzedził mnie, że jest wielka mgła; ale podczas gdyśmy rozmawiali, mgła jeszcze zgęstniała. Był to już nie ów lekki opar, w który pragnąłem się zanurzyć na wyspie z panią de Stermaria. O dwa kroki latarnie gasły i wówczas była noc, równie głęboka jak w szczerym polu, jak w lesie, lub raczej na soczystej wyspie Bretanii, na której chciałbym się znaleźć. Uczułem się zgubiony niby na wybrzeżu jakiegoś północnego morza, gdzie człowiek się naraża dwadzieścia razy na śmierć, zanim dotrze do samotnej gospody; mgła, przestając być mirażem, do którego wyciągamy ręce, stawała się jednym z niebezpieczeństw, przeciw którym się walczy; tak że w szukaniu drogi i dobieciu do portu znaleźliśmy trudności i niepokój, i wreszcie radość, jaką strwożonemu i zgubionemu podróżnikowi daje bezpieczeństwo — niepodobne do odczucia dla kogoś, komu nie

groziła jego utrata. W czasie naszej awanturniczej wyprawy jedna rzecz omal nie naraziła mojej przyjemności, a to przez irytację i zdumienie, w jakie wtrąciła mnie na chwilę.

— Wiesz — rzekł do mnie Saint-Loup — powiedziałem Blochowi, że ty wcale za nim nie przepadasz, że cię często razi jego pospolitość. Ja już taki jestem, lubię jasne sytuacje — dodał z zadowoloną miną, tonem niedopuszczającym repliki.

Oślupiałem. Nie tylko pokładałem w Robercie, w lojalności jego ufność bez granic — ufność, którą on zdradził przez to, co powiedział Blochowi — ale uważałem co więcej, że od takiego postępuku powinny by go uchronić w równej mierze jego wady co przymioty, ów swoisty narów wychowania, zdolny posuwać grzeczność aż do pewnej nieszczerości. Triumfalna mina Roberta była typową miną, jaką staramy się pokryć zakłopotanie, wyznając coś, czego — wiemy to — nie powinniśmy byli zrobić. Czy ta mina wyrażała brak poczucia? czy głupstwo robiące cnotę z wady, której w Robercie nie znałem? czy atak chwilowej antypatii do mnie, szukającej pretekstu do rozstania się, czy wreszcie atak chwilowej antypatii do Blocha, któremu Saint-Loup chciał powiedzieć coś przykrego, bodaj narażając mnie? Zresztą gdy wymawiał te brzydkie słowa, twarz jego szpeciła jakaś ohydna bruzda, którą widziałem u niego jedynie raz lub dwa w życiu i która, przecinając zrazu mniej więcej w połowie twarz, doszedłszy do warg, skręcała je, dawała im wyraz wstrętny i plugawy, niemal wyraz bestialstwa, zupełnie przemijający i z pewnością odziedziczony po przodkach. W tych momentach, które z pewnością zdarzały się nie częściej niż raz na dwa lata, musiało zachodzić całkowite zaćmienie jego własnego „ja”, wynikłe z inwazji osobowości jakiegoś protoplasty, który się w nim odbijał.

Jak ten wyraz zadowolenia z siebie, tak i słowa Roberta: „Lubię jasne sytuacje” nastroczały podobną wątpliwość i zasługiwały na tę samą naganę. Chciałem mu powiedzieć, że kiedy ktoś lubi jasne sytuacje, powinien dawać folę tym napadom szczerości w tym, co dotyczy jego samego, nie zaś uprawiać zbyt łatwą cnotę cudzym kosztem. Ale już pówóz zatrzymał się przed restauracją, której oszklona i błyszcząca fasada samotnie jaśniała w ciemnościach. Dzięki zasobnej jasności wnętrza nawet mgła zdawała się na trotuarze wskazywać wejście, z radością owych lokajów, którzy odzwierciedlają nastrój swego pana; rozteczała się najdelikatniejszymi odcieniami, znaczyła wejście niby świetlna kolumna wiodąca Hebrajczyków<sup>566</sup>.

Było ich zresztą wielu wśród gości. W tej właśnie restauracji spotykali się przez długi czas co wieczór Bloch i jego przyjaciele, pijani postem w równym stopniu wyglądającym co post rytualny (który bodaj przypada tylko raz na rok), pijani kawą i polityką. Ponieważ wszelkie podniecenie umysłowe podnosi wartość i jakość nawyków, które się z nim wiążą, nie ma pasji, która by nie skupiała w ten sposób dokoła siebie towarzystwa zespolonego w tej pasji i stawiającego ponad wszystko szacunek członków tego kółka. Tu — choćby to było małe prowincjonalne miasteczko — znajdziecie namiętnych miłośników muzyki: czas, pieniądz, wszystko idzie na muzykę kameralną, na zebrania, gdzie się mówi o muzyce, na kawiarnię, gdzie się siaduje w kółku amatorów i gdzie się można otrzeć o zawodowych muzyków. Inni, zapaleni do awiacji, dbają o łaski starego kelnera w barze na szczycie hangaru; bezpieczni od wiatru, niby w latarni morskiej, mogą śledzić w towarzystwie lotnika, który nie lata w tej chwili, ewolucje pilota wyczyniającego loopingi<sup>567</sup>, podczas gdy drugi, niewidzialny chwilę przedtem, ląduje nagle i spada z łoskotem skrzydeł godnych ptaka Roka<sup>568</sup>.

Koteria<sup>569</sup>, która się tam zbierała, starając się przedłużyć i pogłębić ulotne wzruszenia procesu Zoli<sup>570</sup>, również przywiązywała wielką wagę do tej kawiarni. Ale była tam

<sup>566</sup>światlna kolumna wiodąca Hebrajczyków — Hebrajczykom wędrującym po pustyni do ziemi Kanaan drogę wskazywał Bóg idący przed nimi pod postacią kolumny z obłoków za dnia i kolumny ognia w nocy (Wj 13, 21). [przypis edytorski]

<sup>567</sup>looping (ang.) — robienie pętli. [przypis edytorski]

<sup>568</sup>ptak Rok — legendarny olbrzymi ptak drapieżny z opowieści perskich i arabskich; występuje w jednej z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

<sup>569</sup>koteria — grupa wzajemnie popierających się osób, działająca w określonym celu. [przypis edytorski]

<sup>570</sup>proces Zoli — po publikacji przez Émile'a Zolę głośnego listu otwartego w obronie Dreyfusa *J'Accuse!*... (Oskarżam!), w którym zarzucał władzom antysemityzm i działania niezgodne z prawem, minister wojny złożył przeciwko autorowi pozew o zniesławienie; przeprowadzony w dniach 7–23 lutego 1898 proces odbywał się z łamaniem podstawowych zasad i praw oskarżonego do obrony i zakończył się skazaniem Zoli na rok więzienia i grzywnę. [przypis edytorski]

źle widziana przez młodych paniczów, którzy stanowili drugą część klienteli i obrali sobie drugą salę, oddzieloną od tamtej jedynie lekkim parapetem przybrany zielonią. Ci uważali Dreyfusa i jego stronników za zdrajców, mimo że w ćwierć wieku później (gdy poglądy miały się czas zgrupować, a dreyfusizm zdołał nabrać w historii pewnej elegancji), bolszewizujący i walczący synowie tych samych młodych panów, na zapytanie w tej mierze, oświadczyli „intelektualistom”, że z pewnością, gdyby żyli w owym czasie, byłiby za Dreyfusem, nie o wiele więcej wiedząc już, co to była sprawa Dreyfusa — *l’Affaire* — niż kto to była hrabina Edmundowa de Pourtales lub margrabina Gallifet<sup>571</sup>, inne gwiazdy zagasłe już w dniu ich urodzenia. Bo tego wieczora, gdy była taka mgła, owi panicze z kawiarni, mający być później ojcami młodych intelektualistów, retrospektywnych dreyfusistów, byli jeszcze nie żonaci. Niewątpliwie dla każdego z nich rodzina miała na oku bogate małżeństwo, ale nie zrealizowało się ono jeszcze dla żadnego. To bogate małżeństwo — jeszcze potencjalne — pożądane równocześnie przez wielu (było wprawdzie wiele „dobrych partii” na widoku, ale w sumie liczba wielkich posagów była o wiele mniejsza od liczby aspirantów) wносиło między tych młodych ludzi pewną rywalizację.

Nieszczęściem dla mnie, Saint-Loup zatrzymał się przez kilka minut, zamawiając woźnicę, aby przyjechał po nas po obiedzie; trzeba mi tedy było wejść samemu. Na początek dostałem się w obrotowe drzwi, do których nie byłem przyzwyczajony, i myślałem, że nigdy z nich nie wyjdę. (Powiedzmy mimochodem, dla amatorów ściślejszego słownictwa, że te drzwi „z bębenkiem”, mimo swego pokojowego charakteru, zowią się drzwi „rewolwerowe” z angielskiego „*revolving door*”). Tego wieczora gospodarz, nie mając ochoty zmknąć, wychodząc za próg, ani opuścić swoich klientów, stał wszelako blisko drzwi, z przyjemnością słuchając wesołych utyskiwań nowo przybyłych, rozpromienionych jak ludzie, którzy z trudem dobili celu, omal nie zgubiwszy się w drodze. Uśmiechniętą serdecznością jego powitań rozproszył widok obcego, który nie umiał się wygramolić ze szklanych przegródek. Ta jaskrawa oznaka nieokrzesa przyprawiła gospodarza o zmarszczenie brwi, niby egzaminatora, który ma wielką ochotę nie wymówić sakramentalnego *dignus est intrare*<sup>572</sup>. Na domiar nieszczęścia, usiadłem w sali zastrzeżonej dla arystokracji, skąd gospodarz wyrwał mnie brutalnie, wskazując mi — z szorstkością, do której natychmiast dostroili się garsoni — miejsce w drugiej sali. Niezbyt mi się tam podobało, zwłaszcza że kanapa, na której znajdowało się to miejsce, była już pełna ludzi, i że miałem na wprost siebie drzwi przeznaczone dla Hebrajczyków, drzwi już nie obrotowe, za każdym otwarciem i zamknięciem puszczające na mnie straszliwe zimno. Ale gospodarz nie chciał mi wskazać innego miejsca, mówiąc: „Nie, proszę pana, nie będę wszystkich niepokoił dla pana”. Zapomniał zresztą niebawem o niewczesnym i niewydarzonym gościu, pochłonięty kolejno każdym nowo przybyłym, który nim zażądał zimnej kury, szklanki piwa lub grogu<sup>573</sup> (pora obiadu minęła od dawna), musiał, jak w starych powieściach, opłacić „cechę”, opowiadając swoją przygodę, z chwilą gdy się znalazł w tym ciepłym i bezpiecznym azylu, gdzie kontrast z tym, czego się uniknęło, stwarzał wesołość i koleżeństwo, baraszkujące zgodnie przy ogniu biwaku.

Jeden opowiadał, że jego fiaker, myśląc, iż jest na moście Zgody, trzy razy okrążył Inwalidów<sup>574</sup>; inny, że jego woźnica, próbując się trzymać alei Pól Elizejskich, wjechał w klomb Rond-Point<sup>575</sup>, skąd przez trzy kwadransy nie mógł się wydobyć. Następowaly lamenty na mgłę, na zimno, na śmiertelną ciszę ulicy; lamenty wygłaszane i słuchane z wyjątkowo radosnymi minami, tłumaczącymi się przytulną atmosferą sali (gdzie, wyjąwszy moje miejsce, było ciepło), żywym światłem, od którego trzeba było mrużyć

<sup>571</sup>hrabina Edmundowa de Pourtales lub margrabina Gallifet — gwiazdy salonów paryskich okresu Drugiego Cesarstwa: *Mélanie de Pourtales* (1836–1914), żona hrabiego Edmonda de Pourtales, oraz *Florence Georgina Laffitte, markiza de Gallifet* (1830–1901), żona generała Gastona de Gallifet. [przypis edytorski]

<sup>572</sup>*dignus est intrare* (łac.) — godny jest, by wstąpić. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>grog — napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

<sup>574</sup>Inwalidzi (fr. *Les Invalides*) — wybudowany z inicjatywy króla Ludwika XIV wielki kompleks budynków w Paryżu, służący jako szpital i pensjonat dla inwalidów wojennych, obecnie mieszczący również muzea związane z wojskową historią Francji. [przypis edytorski]

<sup>575</sup>*Rond-Point de Champs-Élysées* — duże rondo na paryskiej alei Champs-Élysées (Pól Elizejskich). [przypis edytorski]

przywykłe już do ciemności oczy, oraz zgiełkiem rozmów, który wracał uszom ich aktywność.

Nadpływający goście z trudem mogli zachować milczenie. Osobliwość ich przygód — jak sądzili, jedynych w swoim rodzaju — paliła im język; szukali oczami kogoś, z kim by mogli nawiązać rozmowę. Sam gospodarz zatracił poczucie dystansów: „Księżę de Foix zgubił się trzy razy, jadąc od Porte Saint-Martin<sup>576</sup>” — nie lękał się powtarzać, wskazując jednocześnie — jak gdyby go przedstawiał! — sławnego arystokratę adwokatowi Izraelicie, którego w każdym innym dniu dzieliłaby od księcia zaporą o wiele trudniejszą do przebycia niż przegroda zieleni. „Trzy razy, patrzcie państwo!” — rzekł adwokat, dotykając kapelusza. Ten odcień poufałości nie przypadł do smaku księciu. Należał do grupy arystokratów, u których impertynencja — nawet wobec „urodzonych”, o ile to urodzenie nie było najwyższej klasy — zdawała się być jedynym zatrudnieniem. Nie odpowiedzieć na ukłon, a jeżeli grzeczny człowiek ukłonił się powtórnie, zaśmiać się drwiąco lub zadrzeć głowę z wściekłą miną; udawać, że się nie zna starszego człowieka, który swego czasu oddał im przysługę; chować uścisk dłoni i ukłon dla samych książąt i dla najbliższych książęcych przyjaciół — oto był „fason” tych młodych ludzi, a zwłaszcza księcia de Foix. Takiemu wzięciu sprzyjało rozbuchanie pierwsze młodości (gdzie nawet w mieszczańskiej sferze młody chłopak łatwo dopuszcza się niewdzięczności i staje się chamem, bo zapomniawszy w ciągu kilku miesięcy napisać do swego dobroczyńcy, gdy ów stracił żonę, potem — dla uproszczenia — przestaje mu się kłaniać), ale zwłaszcza rodził ją wybujały snobizm kastowy. Prawda, iż na kształt pewnych nerwowych schorzeń, których objawy łagodnieją w wieku dojrzałym, na ogół snobizm ów przestawał z wiekiem objawiać się w sposób równie natarczywy u ludzi tak nieznośnych za młodu. Skoro raz minie młodość, rzadko się zdarza, aby człowiek zakrzepł w arogancji. Sądził, że ona jedna istnieje; i nagle, choćby był nie wiem jakim księciem, odkrywa, że istnieje także muzyka, literatura, ba, mandat poselski. Hierarchia wartości zmienia się w tym świetle; wielki pan nawiązuje stosunki z ludźmi, których niegdyś miażdżył wzrokiem. Szczęśliwa nadzieja dla tych, co mieli cierpliwość czekać, a są na tyle dobroduszni — jeśli się można tak wyrazić — aby znaleźć około czterdziestki przyjemność w grzecznościach i awansach, których im oschle odmawiano, gdy mieli lat dwadzieścia.

Z okazji księcia de Foix wypada powiedzieć, skoro się nastęrcza sposobność, że należał do pewnej koterii dwunastu czy piętnastu młodych ludzi oraz do wybrańszej „grupy czterech”. Koteria owych dwunastu czy piętnastu posiadała tę wspólną cechę (od której, sądzę, książę był wolny), że każdy z tych młodzieńców miał podwójną fizjonomię. Zadłużeni po uszy, uważani byli za hetkę pętelkę przez swoich krawców mimo przyjemności, jaką ci znajdowali w powtarzaniu: „pan hrabia, pan margrabia, książę pan”... Mieli nadzieję wygrzebać się za pomocą sławnej „dobrej partii”, zwanej także „ciężkim workiem”; że zaś grubych posagów, do których wzdychali, było ledwie cztery czy pięć, wielu z nich brało po cichu na cel tę samą pannę. I zachowywano sekret tak ściśle, że gdy jeden z nich, wchodząc do kawiarni, powiedział: „Moje gołąbki, zanadto was kocham, aby wam nie oznajmić swoich zaręczyn z panną d’Ambresac”, rozległo się kilka okrzyków, ile że niejeden z nich uważał tę rzecz za załatwioną dla siebie samego, a nie miał tyle zimnej krwi, aby zdławić pierwszy wybuch wściekłości i zdumienia. „Ty się tak palisz do małżeństwa, Bibi?” — nie mógł się wstrzymać od okrzyku książę de Châtellerault, który upuścił widelec ze zdumienia i rozpacz, bo myślał, iż zaręczyny panny d’Ambresac staną się niebawem publicznym faktem, ale — zaręczyny z nim samym. A przecież samemu Bogu wiadomo, co jego ojciec zręcznie wszczył Ambresakom w ucho o matce młodego Bibi! „Ty się tak palisz do małżeństwa?” — nie mógł się wstrzymać od pytania drugi raz „Bibiego”, który, lepiej przygotowany (od czasu jak to było „prawie oficjalne”, miał czas się oswoić z sytuacją), odpowiadał z uśmiechem: „Jestem zachwycony nie tym, że się żenię, na co nie miałem najmniejszej ochoty, ale że się żenię z Daisy d’Ambresac, która jest doprawdy urocza”. W czasie tej odpowiedzi pan de Châtellerault opamiętał się; ale pomyślał, że trzeba co rychlej skrócić chorągiewkę w kierunku panny de la Canourque albo miss Foster, wielkich partii nr 2 i nr 3, prosić o cierpliwość wierzycieli, którzy cze-

Młodość

<sup>576</sup> *Porte Saint-Martin* (fr.: Brama św. Marcina) — paryski pomnik w formie łuku triumfalnego, zbudowany przez Ludwika XIV w miejscu dawnej bramy miejskiej; w pobliżu znajduje się teatr: Théâtre de la Porte-Saint-Martin. [przypis edytorski]

kali na pannę d'Ambresac, a wreszcie wytłumaczyć ludziom (którym także opowiadał, że panna d'Ambresac jest uroczą), że to jest partia dobra dla takiego Bibi, ale że on, zanimby się ożenił z tą panną, musiałby się poróżnić z całą swoją rodziną. Pani de Soléon tak by opowiadał — oświadczyła wręcz, że by ich nie przyjęła u siebie!

Ale o ile w oczach szewców, krawców, restauratorów itd. panicze ci mieli wątpliwą opinię, w zamian za to, kiedy się znaleźli w „świecie”, sądono ich już nie wedle zaszarganego majątku i smutnych sposobów, jakimi próbowali go odrestaurować. Stawali się z powrotem księciem, diukiem takim a takim, szacowanym jedynie wedle ilości antenatów<sup>577</sup>. Jakiś książę, prawie miliardowy i jednoczący — zdawałoby się — wszystko w swojej osobie, ustępował im kroku, bo jako naczelnicy rodu byli niegdyś udzielnymi panami w małym kraiku, gdzie mieli prawo bić monetę itd... Często w restauracji jeden spuszczał oczy, kiedy drugi wchodził, aby nie zmuszać wchodzącego do ukłonu, a to dlatego, że sam, w swojej chimerycznej pogoni za bogactwem, zaprosił na obiad jakiegoś bankiera. Za każdym razem kiedy światowiec nawiązuje w tych warunkach stosunki z bankierem, bankier upuszcza mu krwi na jakieś sto tysięcy franków, co nie przeszkadza światowcowi powtarzać tego samego z drugim. Dalej pali świeczki i radzi się lekarzy.

Ale książę de Foix, sam z siebie bogaty, należał nie tylko do tej wykwiśniętej koterii piętnastu młodych, ale także do zamkniętej i nierozłącznej grupy czterech, w której był i Saint-Loup. Nie zapraszano nigdy jednego bez drugiego, nazywano ich „czterej żigolo<sup>578</sup>”, widziało się ich zawsze razem na spacerach, w zamkach dawano im sąsiadujące pokoje, tak iż świat szeptał sobie na ucho o tej zażyłości, tym bardziej że wszyscy czterej byli bardzo piękni. Mogłem zaprzeczyć tym pogłoskom — o ile tyczyły one Roberta de Saint-Loup — w sposób najformalniejszy. Ale najciekawsze jest, iż później, choć się okazało, że te pogłoski były prawdą co do wszystkich czterech, w zamian za to żaden z nich absolutnie nie podejrzewał trzech innych. A przecież każdy z nich bardzo się starał dowiedzieć o innych, czy to, aby zaspokoić pragnienie — lub raczej urazę — popsuć małżeństwo, mieć broń na zdemaskowanego przyjaciela. Do tych czterech platoników — bo grupy „czterech” zawsze liczą więcej niż czterech — przyłączył się piąty, jeszcze większy platonik od tamtych. Ale skrupuły religijne powstrzymywały go aż do czasu, kiedy grupa czterech od dawna się już rozbiła, a on sam, żonaty i ojciec rodziny, modląc się w Lourdes o to, by następne dziecko było chłopcem lub dziewczynką, w pauzach rzucił się na żołnierzy.

Mimo charakteru księcia fakt, iż słowa wypowiedziane przy nim nie były doń zwrócone wprost, złagodził pioruny jego gniewu. Przy tym ten wieczór miał coś wyjątkowego. Wreszcie, adwokat nie więcej miał szans wejść w stosunki z księciem de Foix niż stangret, który go przywiózł. Toteż książę uważał, iż może odpowiedzieć — z oschłą miną i nie patrząc nań — natrętowi, który pod protekcją mgły stał się czymś w rodzaju towarzysza podróży, spotkanego het na krańcu świata, na jakiejś plaży smaganej wichrem i tonącej we mgłach. „To jeszcze nic zgubić się, najgorsze, że nie sposób się odnaleźć”. Trafność tej myśli uderzyła gospodarza, ponieważ słyszał ją już z ust gości tego wieczora kilka razy.

W istocie, miał on zwyczaj porównywać to, co słyszał lub czytał, z jakimś znanym już tekstem i odczuwał poryw zachwyty, kiedy nie spostrzegał różnic. Tych stanów duszy nie trzeba lekceważyć, gdyż zastosowane do rozmów politycznych, do lektury dzienników, tworzą opinię publiczną i przez to przygotowują grunt dla największych wydarzeń. Niemieccy właściele kawiarni, jedynie przez to, iż podziwiali swego gościa lub swój dziennik, powtarzających że Francja, Anglia i Rosja „szukają zaczepki” z Niemcami, umożliwili w momencie Agadiru<sup>579</sup> wojnę, która zresztą nie wybuchła. Historycy, którzy nie bez słuszności wyrzekli się tłumaczenia czynów ludów wolą królów, powinni ją zastąpić psychologią „szarego człowieka”.

<sup>577</sup> *antenat* (z łac.) — przodek. [przypis edytorski]

<sup>578</sup> *zigolo* — płatny partner do tańca w lokalu rozrywkowym; młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymywania towarzystwa lub ze stosunków z zamożnymi kobietami. [przypis edytorski]

<sup>579</sup> *kryzys agadirski* a. *drugi kryzys marokański* (1911) — incydent militarny i dyplomatyczny między Francją a Niemcami, spowodowany rozmieszczeniem znacznych sił francuskich w głębi Maroka i wysłaniem przez Niemcy kanonierki SMS *Pantser* do marokańskiego portu Agadir; wobec stanowczej reakcji Wielkiej Brytanii zakończony po kilku miesiącach uznaniem przez Niemcy francuskiej dominacji w Maroku oraz przekazaniem części terenów Francuskiej Afryki Równikowej na rzecz Niemiec. [przypis edytorski]

W polityce gospodarz tej kawiarni przykładał od jakiegoś czasu swoją mentalność profesora recytacji jedynie do pewnej ilości wypowiedzi na temat sprawy Dreyfusa. O ile w słowach gościa lub na łamach dziennika nie odnalazł utartych zwrotów, oświadczał, że artykuł jest nudny lub gość nieszczerzy. Natomiast książę de Foix zachwycił go: ledwie pozwolił księciu dokończyć zdania. „Dobrze powiedział książę pan, dobrze powiedziane (co w sumie znaczyło: wyrecytowane bez błędu); to, to, właśnie to!” — wykrzyknął, wypełniony, jak mówią opowieści *Tysiąca i jednej nocy*, zadowoleniem po brzegi. Ale książę już znikł w małej sali. Przy tym — ponieważ życie odzyskuje swoje prawa nawet po najosobliwszych wypadkach — wylaniający się z morza mgły goście zamawiali to jakieś danie, to całą kolację; pomiędzy tymi byli zwłaszcza młodzi ludzie z Jockey Clubu, którzy wobec wyjątkowego charakteru dnia nie wahali się zająć dwóch stołów w wielkiej sali i w ten sposób znaleźli się tuż koło mnie. Kataklizm stworzył nawet między małą a dużą salą, między tymi wszystkimi ludźmi podnieconymi komfortem restauracji po długim błędzeniu w oceanie mgły, poufałość, z której ja jeden byłem wyłączony — podobną do tej, jaka musiała panować w arce Noego.

Naraz ujrzałem, że gospodarz zgina się w pokłonach, kelnerzy nadbiegają w komplecie, sprawiając, że wszyscy goście odwrócili się.

—Prędko, zawołać mi Cypriana, stolik dla pana margrabiego de Saint-Loup! — wykrzyknął gospodarz, dla którego Robert był nie tylko wielkim panem wywierającym niewątpliwym urok, nawet w oczach księcia de Foix, ale także klientem, który żył szeroko i zostawiał w tej restauracji dużo pieniędzy.

Goście z wielkiej sali patrzyli z ciekawością, goście z małej wołali na wyprzódki przyjaciela, który kończył wycierać nogi. Ale, w chwili gdy miał wejść do małej sali, Saint-Loup spostrzegł mnie w dużej.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — Co ty robisz tutaj, i to jeszcze koło otwartych drzwi! — rzekł, patrząc z wściekłością na gospodarza, który pobiegł zamknąć drzwi, zrzucając winę na garsonów:

— Zawsze im mówię, żeby drzwi były zamknięte.

Trzeba mi było ruszyć mój stolik i sąsiednie stoły, aby się przedostać do Roberta.

— Czemuś się ruszył? Wolisz jeść tutaj niż w małej sali? Ale, dziecino, ty zmarzniesz! Będzie pan tak łaskaw kazać zamknąć te drzwi na klucz — rzekł Saint-Loup do gospodarza.

— W tej chwili, panie margrabio, odtąd już goście będą po prostu przechodzili przez małą salę, wybornie.

I aby lepiej zadokumentować swoją gorliwość, zawołał do tej operacji starszego kelnera i kilku garsonów, miotając równocześnie straszliwe groźby, w razie gdyby jej nie wykonano należycie. Obsypywał mnie oznakami przesadnego szacunku, chcąc, bym zapomniał, że nie zaczęły się one od chwili mego przybycia, ale dopiero od zjawienia się Roberta. Zarazem, iżbym nie sądził, że te względy są wynikiem przyjaźni, jaką mi okazuje bogaty i arystokratyczny klient, restaurator słał mi ukradkiem dyskretne uśmieški, mające świadczyć o jego na wskroś osobistej sympatii.

Odezwanie się jakiegoś gościa tuż za mną kazało mi na chwilę odwrócić głowę. Zamiast zwykłych słów w rodzaju: „Kawałek kury, owszem, i szampan, ale nie za suchy”, usłyszałem, co następuje: „Wolałbym glicerynę. Tak, gorącą, wybornie”. Chciałem zobaczyć, kto jest owym ascetą nakładającym sobie podobne menu. Odwróciłem żywo głowę ku Robertowi, aby mnie ten osobliwy smakosz nie poznał. Był to po prostu mój znajomy, doktor, z którego pacjent, korzystając z mgły, aby go zablokować w tej kawiarni, wyludził konsultację. Lekarze, jak giełdciarze, lubią formę „ja”.

Tymczasem patrzyłem na Roberta i myślałem tak: Jest w tej kawiarni — i w życiu znałem ich wielu — sporo cudzoziemców, intelektualistów, cyganów wszelkiego rodzaju, pogodzonych ze śmiechem, jaki budzą ich pretensjonalne peleryny, krawaty *à la* 1830, a bardziej jeszcze ich niezręczne ruchy; posuwających się do prowokowania śmiechu, aby okazać, że o niego nie dbają: ludzi rzetelnej wartości intelektualnej i moralnej, wielkich zalet serca. I wszyscy oni — zwłaszcza Żydzi, Żydzi niezasymilowani, rozumie się, nie mogłoby być mowy o innych — razili tych, co nie mogli znieść ekscentrycznego, kabotyńskiego wyglądu (jak Bloch raził Albertynę). Na ogół uznawało się później, że o ile przeciw nim przemawiały za długie włosy i nosy, za wielkie oczy, teatralne i pretensjonalne gesty,



dzieciństwem<sup>580</sup> byłoby sądzić ich z tego; mieli wiele inteligencji, serca; byli to w obcowaniu ludzie, których można było szczerze pokochać. Co się tyczy w szczególności Żydów, mało było wśród nich takich, których rodzice nie odznaczałoby się szlachetnością serca, szerokością umysłu, szczerością; matka Roberta de Saint-Loup i książę de Guermantes wyglądałoby przy nich bardzo mizernie ze swoją oschłością, ze swoją powierzchowną dewocją potępiającą jedynie skandal, ze swoją apologią<sup>581</sup> chrystianizmu wiodącego nieomylnie (drogami niepojętymi dla inteligencji, rzekomo jedynie przez nich cenionej) do kolosalnie bogatego małżeństwa. Ale koniec końców, u takiego Roberta de Saint-Loup (jak gdyby wady rodziców skombinowały się w nowe wcielenie zalet) istniała na wskroś urocza prostota umysłu i serca. I wówczas — trzeba to powiedzieć na nieśmiertelną chwałę Francji — kiedy te przymioty znajdują się u czystego Francuza, czy z arystokracji, czy z ludu, zakwitają one — „rozpościerają się” byłoby za wiele powiedziane, bo jest w tym miara i ograniczenie — z wdziękiem, jakiego nie spotykamy u najwartościowszego bodaj cudzoziemca. Zalety umysłu i serca posiadają niewątpliwie i inni i nie umniejsza ich ceny to, iż zrazu trzeba nam przebyć to, co nas razi i odstręcza, i przyprawia o uśmiech. Bądź co bądź ładną i może wyłącznie francuską właściwością jest, że to, co uznajemy za istotnie piękne, to, co ma wartość wedle umysłu i serca, jest przede wszystkim urocze dla oka, zabarwione wdziękiem, wyczelowane subtelnie, że także w swojej materii i formie osiąga wewnętrzną doskonałość. Patrzyłem na Roberta i myślałem, że to jest ładna rzecz, kiedy szpetota fizyczna nie jest przedśmionkiem duchowego wdzięku; kiedy delikatne skrzydła nosa mają rysunek doskonały jak skrzydła motylków siadających na kwiatach polnych dokoła Combray; i że prawdziwe *opus francigenum*<sup>582</sup>, którego sekret nie zatracił się od XIII wieku i nie zginąłby wraz z naszymi kościołami, to są nie tyle kamienne anioły w Saint-André-des Champs, ile małe Francuziki, ze szlachty, z mieszczan czy z chłopów, o twarzy wyrzeźbionej z tą delikatną prostotą, równie tradycyjną jak w słynnej kruchcie, ale jeszcze twórczą.

Oddaliwszy się na chwilę, aby czuwać osobiście nad zamknięciem drzwi i nad naszym obiadem (nalegał, żebyśmy wzięli „zimne mięso”, bo drób musiał być nieszczególny), gospodarz wrócił, aby nam oznajmić, że książę de Foix bardzo by pragnął, aby pan margrabia pozwolił mu zjeść obiad przy stoliku obok.

— Ależ wszystkie są zajęte — odparł Saint-Loup, patrząc na stoły, które zatarasowały mój stolik.

— O to nie chodzi; gdyby to mogło być przyjemne panu margrabiemu, można by doskonale poprosić te osoby, żeby się przesiadły. Takie rzeczy da się zrobić dla pana margrabiego!

— Decyduj ty — rzekł do mnie Saint-Loup. — Foix jest dobry chłopak, może cię nie znudzi; jest mniej głupi niż wielu innych.

Odpowiedziałem, że z pewnością bardzo by mi było miło, ale że kiedy się nam raz zdarzyło wybrać we dwójkę na obiad i kiedyś się na to tak cieszył, wolałbym raczej żebyśmy byli sami.

— Ładny ma płaszcz książę de Foix — rzekł gospodarz w trakcie naszej narady.

— Tak, znam ten płaszcz — odparł Saint-Loup.

Chciałem opowiedzieć Robertowi, iż pan de Charlus zataił przed jego ciotką, że mnie zna, przy czym chciałem go spytać, co może być tego za przyczyna; ale przeszkodziło mi przybycie księcia de Foix. Zjawił się nagle o dwa kroki; przyszedł się przekonać, czy jego propozycję przyjęto. Robert zapoznał nas, ale nie ukrywał swemu przyjacielowi, że mając ze mną do pomówienia, wolałby, żeby nas zostawiono w spokoju. De Foix oddalił się, podkreślając pożegnalny ukłon uśmiechem, którym wskazywał mi Roberta, jak gdyby składając na niego krótkość tej znajomości, którą by rad przedłużył. Ale w tej chwili, Robert, jak gdyby uderzony nagłą myślą, pospieszył za nim, rzuciwszy mi: „Usiądź i zacznij jeść, ja zaraz przyjdę” — po czym znikł w małej sali.

Przykro mi było, kiedyś słyszał, jak jacyś nieznanymi eleganci opowiadają niedorzeczne a złośliwe historie o młodym następcy tronu, księciu Luksemburga (eks-hrabi

<sup>580</sup>*dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>581</sup>*apologia* — obrona stanowiąca zarazem usprawiedliwienie i pochwałę. [przypis edytorski]

<sup>582</sup>*opus francigenum* (łac.) — dzieło francuskie. [przypis edytorski]

de Nassau), którego poznał w Balbec i który dał mi tak delikatne dowody sympatii w czasie choroby babki. Jeden utrzymywał, że ów książę powiedział do księżnej Oriany de Guermantes: „Żądam, aby wszyscy wstawali, kiedy przechodzi moja żona”, i że księżna odpowiedziała (co grzeszyłoby nie tylko brakiem dowcipu, ale i brakiem ścisłości, gdyż babka młodej księżnej była zawsze najuczciwszą kobietą w świecie): „Skoro wszyscy będą wstawali dla twojej żony, będzie to coś nowego w porównaniu z babką, z którą się wszyscy kładli”. Opowiadali potem, że kiedy młody książę odwiedził w tym roku swoją ciotkę, księżnę de Luxembourg, w Balbec i stanął w „Grand Hotelu”, skarżył się dyrektorowi (mojemu przyjacielowi), że nie wywieszono flagi Luksemburga. Otóż, ponieważ ta flaga była mniej znana i mniej używana niż flaga angielska lub włoska, trzeba było kilku dni, aby się o nią postarać, ku wielkiemu niezadowoleniu młodego księcia. Nie uwierzyłem ani trochę w tę historię, ale przyrzekłem sobie, skoro się znajdę w Balbec, zapytać o to dyrektora hotelu, aby się upewnić, że to jest czyste zmyślenie.

Czekając na Roberta, poprosiłem gospodarza, aby mi kazał dać chleba.

— Natychmiast, panie baronie.

— Nie jestem baronem — odparłem.

— Och przepraszam, panie hrabio!

Nie miałem jeszcze czasu założyć nowego protestu, po którym zostałem z pewnością „panem margrabią”, kiedy, równie szybko, jak mi to zapowiedział, zjawił się w progu Saint-Loup, trzymając w ręku obszerny płaszcz księcia de Foix; zrozumiałem, iż poprosił przyjaciela o ten płaszcz, aby mi było ciepło. Dał mi z daleka znak, żebym się nie ruszał; posuwał się ku mnie, ale trzeba było jeszcze ruszyć mój stół albo musiałbym zmienić miejsce, aby Robert mógł usiąść. Wszedłszy do wielkiej sali, Saint-Loup wstąpił lekko na czerwoną aksamitną kanapkę okrążającą salę wzdłuż ściany; na tej kanapce oprócz mnie siedziało tylko trzech czy czterech młodych ludzi z Jockey Clubu, znajomych Roberta, którzy nie znaleźli miejsca w małej sali. Pomiędzy stolikami były rozpięte sznury elektryczne na pewnej wysokości; nie zważając o nie, Saint-Loup przeskoczył je zręcznie, niby koń wyścigowy przeszkodę. Zawstydzony, że on dokazuje tych cudów jedynie dla mnie, aby mi oszczędzić bardzo prostego ruchu, byłem równocześnie oczarowany pewnością, z jaką wykonywał tę woltyżerską sztukę; i nie ja sam: gospodarz i garsoni (mimo iż byliby z pewnością średnio smakowali w tej sztuce u mniej arystokratycznego i mniej hojnego klienta) stali olśnieni niby znawcy przy wadze na wyścigach; pikolo, jakby sparaliżowany, stał nieruchomo z półmiskiem, na który czekali goście obok; a kiedy Saint-Loup, mając przejść za swymi przyjaciółmi, wstąpił na ramę oparcia i posuwał się, zachowując doskonałą równowagę, dyskretnie oklaski rozległy się na sali. Zrównawszy się wreszcie ze mną, osadził w miejscu swój rozmach z precyzją wodza przed trybuną monarchy i kłaniając się, podał mi, z wyrazem dworności i poddania, płaszcz z wielbłądziej sierści, aby natychmiast potem, siadłszy obok mnie i nie pozwalając mi uczynić najmniejszego ruchu, ułożyć go niby lekki i ciepły szal na moich ramionach.

— Posłuchaj, żebym nie zapomniał — rzekł Robert — wuj Charlus ma ci coś do powiedzenia. Obiecałem mu, że cię przyślę do niego jutro wieczór.

— Właśnie miałem z tobą pomówić o nim. Ale jutro mam obiad u twojej ciotki Guermantes.

— Tak, jest wyżerka pierwszej klasy jutro u Oriany. Mnie nie proszono w gości. Ale wuj Palamed wolałby, żebyś ty tam nie szedł. Nie możesz się wymówić? W każdym razie idź do wuja Palameda potem. Zdaje mi się, że mu zależy na tym widzeniu. No, możesz zdążyć do niego na jedenastą. Jedenasta, nie zapomnij, podejmuję się uprzedzić go. On jest bardzo drażliwy. Jeśli nie przyjdiesz, będzie miał pretensje. Zresztą u Oriany zawsze się wcześniej kończy. Jeżeli masz tylko obiad, wybornie możesz być o jedenastej u wuja. I ja zresztą powinien bym się zobaczyć z Orianą, chodzi o moje stacjonowanie w Maroku, które chciałbym zmienić. Ona jest taka poczciwa w tych rzeczach, a robi co chce z generałem de Saint-Joseph, od którego to zależy. Ale nie mów jej o tym. Powiedziałem słówko księżnej Parmy, to pójdzie jak po maśle. Och, to Maroko, bardzo interesujące. Dużo by mówić o tym. Mężczyźni są tam bardzo subtelni. Czuć równość inteligencji.

— Nie sądzisz, że Niemcy mogliby się posunąć z powodu Maroka aż do wojny?

— Nie, ich to drażni, i w gruncie to rozumiałe. Ale cesarz jest pacyfistą. Zawsze będą przed nami udawali, że chcą wojny, aby nas skłonić do ustępstw. Bluffują, jak w pokerze. Książę Monako<sup>583</sup>, agent Wilhelma II<sup>584</sup>, powiedział nam poufnie, że Niemcy rzucą się na nas, jeżeli nie ustąpimy. Więc ustępujemy. Ale gdybyśmy nie ustąpili, nie byłoby ani cienia wojny. Pomyśl tylko, co by to była za komiczna rzecz — wojna dzisiaj. To byłoby katastroficzniesze niż *Déluge*<sup>585</sup> i *Götterdämmerung*<sup>586</sup>. Tylko trwałoby krócej.

Robert mówił mi o przyjaźni, o sympatii, o żalu, mimo że — jak wszyscy tacy wędrowcy — wyjeżdżał nazajutrz na kilka miesięcy, które miał spędzić na wsi, aby wpaść tylko na czterdzieści osiem godzin do Paryża przed powrotem do Maroka (lub gdzie indziej); ale słowa, które rzucał w ten sposób w ciepło mego serca owego wieczora, rozpały w nim słodkie marzenia. Nasze rzadkie sam na sam — a zwłaszcza to — wyrły się później w mojej pamięci. Dla Roberta, jak dla mnie, był to wieczór przyjaźni. Ale przyjaźń, jaką odczuwałem w tej chwili, niezupełnie była (obawiałem się) tą, którą on byłby rad we mnie budzić. Odczuwałem nawet cień wyrzutu z tego powodu. Jeszcze pełen przyjemności, jakiej doznałem, patrząc, jak on się posuwa na kształt jeźdźca, aby osiągnąć z wdziękiem celu, czulem, iż ta przyjemność wynika stąd, że każdy z jego ruchów, wykonanych wzdłuż ściany na ławeczce, czerpał swój sens, swoją przyczynę może w indywidualnej naturze Roberta, ale bardziej jeszcze w tej, którą z urodzenia i wychowania odziedziczył po swojej rasie.

Pewność smaku w zakresie nie piękna, ale manier każe w obliczu nowej okoliczności wytwornemu człowiekowi — jak muzykowi, gdy go proszą o zagranie nieznanego utworu — chwycić natychmiast ton, rytm, jakiego utwór żąda, i dostroić doń najwłaściwszą technikę; następnie pozwala temu smakowi przejawiać się bez skrepowania żadnymi innymi względami, które sparaliżowałyby tyłu młodych ludzi z burżuazji, zarówno przez obawę śmieszności w oczach świata w razie uchybienia konwenansom, jak przez obawę nadmiaru uprzejmości w oczach przyjaciół. Miejsce tego wszystkiego zastępowała u Roberta wzdęta, której z pewnością nigdy nie czuł w sercu, ale którą otrzymał dziedzicznie w swoim ciele i która wyrobiła u jego przodków nawyk poufaleści, a to dzięki przeświadczeniu, że ona może jedynie pochlebić i sprawić przyjemność temu, do kogo się odnosi; wreszcie szlachetna hojność, która, nie biorąc zgoła w rachubę tyłu materialnych przewag (sute rachunki w tej restauracji uczyniły zeń w końcu, tutaj, jak i gdzie indziej, najmodniejszego klienta i wielkiego faworyta, a sytuację tę podkreślała w stosunku do Roberta skwapliwość nie tylko służby, ale i najświetniejszej młodzieży), kazała mu je deptać nogami, niby te faktycznie i symbolicznie deptane purpurowe ławeczki, podobne do wspaniałej drogi, która podobała się Robertowi jedynie przez to, że pozwalała mu się zbliżyć do mnie z większym wdziękiem i szybciej; oto były jego na wskroś arystokratyczne zalety, które zza tego ciała, nie tępego i ciemnego, jak byłoby moje, ale wymownego i jasnego, świeciły tak, jak poprzez dzieło sztuki prześwieca przemyślna i sprawna potęga, która je stworzyła, każdy gest owej lotnej podróży, jaką Robert odbył wzdłuż ściany, czyniąc czymś zrozumiałym i wdzięcznym, niby ruchy jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie<sup>587</sup>.

„Ach! — pomyślałby Robert. — Wartoż mi było przez całą młodość gardzić urodzeniem, cenić jedynie sprawiedliwość i inteligencję, wybierać poza narzuconymi mi przyjaciółmi niezręcznych i źle ubranych kolegów, o ile mieli dar słowa, po to, aby jedyną uderzającą we mnie i wrażliwą się w sympatyczną pamięć istotą była nie ta, którą wola moja, dokładając wysiłków i pracując nad sobą, ukształtowała na moje podobieństwo, ale owa inna, niebędąca moim dziełem, niebędąca nawet mną, istota, którą zawsze gardziłem

<sup>583</sup>książę Monako — Albert I (1848–1922), książę Monako od 1889. [przypis edytorski]

<sup>584</sup>Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

<sup>585</sup>*Déluge* (fr.: Potop) — oratorium francuskiego kompozytora Camille'a Saint-Saënsa z 1875, ze słowami Louisa Galleta, opowiadające historię biblijnego potopu; napisane pod wpływem oper Wagnera. [przypis edytorski]

<sup>586</sup>*Götterdämmerung* (niem.) a. *Ragnarök* (mit. skand.) — wielka walka między bogami a olbrzymami i potworami, w wyniku której spłonę świat i siedziba bogów, Asgard, zgasną wszystkie gwiazdy, a Ziemię zaleje wielkie morze; po katastrofach wyłoni się odnowiony, oczyszczony świat. *Götterdämmerung* (pol. *Zmierzch bogów*) to także tytuł ostatniej części dramatu muzycznego Richarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

<sup>587</sup>jeźdźców wyrzeźbionych na fryzie — odniesienie do postaci z fryzu dłuta Fidiasza, biegnącego wokół Partenonu, świątyni bogini Ateny na ateńskim Akropolu; na fryzie przedstawiono uroczysty pochód podczas najważniejszego święta na cześć Ateny, między innymi kawalkadę jeźdźców. [przypis edytorski]

i którą starałem się przezwyciężyć? Wartoż mi było tak bardzo kochać mego ulubionego przyjaciela, po to, aby jego największą przyjemnością było odkrywać we mnie coś o wiele ogólniejszego niż ja sam; przyjemnością niepłynącą zgoła — jak on nieszczerze powiada — z przyjaźni, ale będącą czymś intelektualnym i bezinteresownym, rozkoszą niejako artystyczną?”

Oto — obawiam się dzisiaj — co Saint-Loup niekiedy myślał. W takim razie mylił się. Gdyby on nie był ukochał czegoś wyższego od wrodzonej gibkości swego ciała, gdyby nie gardził tak długo dumą rodową, nawet zwinność jego byłaby mniej swobodna, cięższa, wzięcie jego miałyby coś z nadętej pospolitości. Jak pani de Villeparisis musiała wiele przemyśleć serio, aby dać swojej rozmowie i swoim pamiętnikom wrażenie lekkości (które jest czymś intelektualnym), tak samo na to, aby w ciele Roberta zamieszkało tyle pańskości, musiała ta pańskość ustąpić z jego myśli, zwróconej ku wyższym celom; musiała, wsiąkszy w jego ciało, utrwalić się w nim w bezwiednych i szlachetnych liniach. Tym samym jego dystynkcja duchowa nie była obca jego dystynkcji fizycznej, która bez owej pierwszej nie byłaby zupełna. Artysta nie potrzebuje wyrażać wprost swojej myśli w dziele na to, aby to dzieło odbijało jej wartości; powiedział nawet ktoś, że najwyższą pochwałą Boga jest negacja ateusza, który uważa stworzenie za coś na tyle doskonałego, aby się mogło obejść bez twórcy. I miałem świadomość, że nie wyłącznie dzieło sztuki podziwiam w tym młodym jeźdźcu, rozwijającym wzdłuż ściany fryz swojego biegu; młody książę (pochodzący od Katarzyny de Foix, królowej Nawarry i wnuczki Karola VII), którego Robert opuścił dla mnie, urodzenie i majątek, jakie pochylał przede mną w hołdzie, dumni i gibcy przodkowie, którzy przetrwali w jego pewności i zwinności, dworność, z jaką otulił moje wrażliwe ciało płaszczem z wielbłądziej sierści, czyż z wszystkim tym nie było tak jak z jego przyjaciółmi dawniejszymi ode mnie, którzy — sądziłem — powinni byli zawsze nas dzielić, a których, przeciwnie, poświęcał dla mnie mocą wyboru, możebnego do uczynienia jedynie na wyżynach inteligencji, z tą skończoną swobodą, której ruchy jego były obrazem, a w której się objawia doskonała przyjaźń.

Ile pospolitej nadętości — w miejsce dystynkcji, jaką miała poufalość Roberta, dlatego że dziedziczna wzgarda była w nim jedynie zmienionym w nieświadomy wdzięk strojem istotnej pokory moralnej — może ujawnić poufalość jakiegoś Guermantes, mogłem sobie uświadomić nie w panu de Charlus, u którego wady charakteru, dotąd dla mnie niezrozumiałe, pokryły arystokratyczne wzięcie, ale w księciu Błażeju. I on zresztą — przy pospolitej całości, która się tak nie podobała mojej babce, kiedy niegdyś spotkała księcia u pani de Villeparisis — miał znamiona dawnej wielkości, które mnie uderzyły, kiedy nazajutrz po wieczorze spędzonym z Robertem znalazłem się u niego na obiedzie.

Znamion tych nie dostrzegłem ani u niego, ani u księżnej Oriany, kiedy ich widział pierwszy raz u ich ciotki, tak samo jak nie dostrzegłem pierwszego dnia różnic dzielących Bermę od jej towarzyszek, mimo że u niej swoiste cechy były nieskończenie bardziej uderzające niż u ludzi światowych, bo wyraźniejsze, w miarę jak przedmioty stają się realniejsze, dostępne inteligencji. Ale mimo całej błahości tych odcieni socjalnych (błahości takiej, że kiedy rzetelny obserwator, jak Sainte-Beuve<sup>588</sup>, chce kolejno zaznaczyć subtelne różnice między salonem pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne<sup>589</sup>, wszystkie te salony wydają się identyczne, główną zaś prawdą, jaka bez wiedzy autora wylania się z jego studiów, jest nicość życia salonów), bądź co bądź — z tej samej racji co u Bermy — kiedy Guermantowie stali mi się obojętni, a kropelka ich oryginalności nie zmieniała się już w parę w temperaturze mojej wyobraźni, wówczas mogłem ją zebrać, mimo iż tak mało ważką.

Ponieważ na wieczorze u ciotki księżna nie wspomniała mi o mężu, zastanawiałem się, czy wobec krążących pogłosek rozwodowych mąż ów będzie obecny na obiedzie. Ale niebawem zyskałem tego pewność, bo między lokajami, którzy stali w przedpokoju i którzy (dotąd patrzeli z pewnością na mnie jak na dzieci stolarza, to znaczy z większą może sympatią niż ich pan, ale jak na kogoś nienadającego się do tego domu) musieli dociekać

<sup>588</sup> Sainte-Beuve, Charles Augustin (1804–1869) — francuski pisarz i krytyk literacki; członek Akademii Francuskiej (od 1844). [przypis edytorski]

<sup>589</sup> pani Geoffrin, pani Recamier i pani de Boigne — paryskie damy prowadzące salony, gdzie spotykali się artyści, pisarze i politycy: Marie Thérèse Rodet Geoffrin (1699–1777), Juliette Recamier (1777–1849) oraz Adèle d’Osmond, hrabina Boigne (1781–1866). [przypis edytorski]

przyczyn tego przewrotu, ujrzałem sunącego pana de Guermites, który czyhał na moje przybycie, aby mnie przyjąć w progę i zdjąć mi własnoręcznie palto.

— Żona będzie bardzo a bardzo szczęśliwa — rzekł książę tonem przymilnej perswazji. — Niech mi pan pozwoli uwolnić się od swoich rupieci (uważał za dobroduszne i komiczne zarazem używać gwary ludu). Żona bała się trochę dezercji z pańskiej strony, mimo że pan raczył sam naznaczyć dzień. Od rana powiadaliśmy sobie oboje: „Zobaczysz, że nie przyjdzie”. Muszę powiedzieć, że księżna lepiej oceniła sytuację. Nie jest pan człowiekiem łatwym do zdobycia i byłem przekonany, że pan nam skręci kominka.

Książę był tak złym mężem, podobno nawet tak brutalnym, że mu poczytywano na zasługę (tak jak się ma za zasługę ludziom złych ich dobroduszność) te słowa „moja żona”, robiące wrażenie, że w nich rozciąga nad księżną opiekuńcze skrzydło, iżby stanowiła z nim jedno.

Ująwszy mnie poufale za rękę, książę wiódł mnie z sobą, aby mnie wreszcie wprowadzić do salonów. Gminne wyrażenie może się podobać w ustach wieśniaka, jeżeli streszcza trwałość jakiejś lokalnej tradycji, ślad historycznego wypadku, może nieznanego temu, kto do nich robi aluzję; tak samo grzeczność pana de Guermites, którą miał mnie otaczać cały wieczór, zachwycała mnie jak pozostałość kilkowiecznych obyczajów, w szczególności obyczajów XVII wieku. Ludzie minionych czasów wydają się nam nieskończenie dalecy. Nie śmiemy im podsuwać głębokich intencji poza tym, co wyrażają formalnie; zdumieni jesteśmy, kiedy u bohaterów Homera spotkamy jakieś uczucie dość podobne do naszych lub fintę taktyczną u Hannibala<sup>590</sup> pod Kannami, gdzie pozwolił złamać swoje skrzydło, aby niespodzianie otoczyć nieprzyjaciela; zdawałoby się, że my sobie wyobrażamy owego poetę lub wodza równie odległymi od nas co zwierzę oglądane w zoologicznym ogrodzie. Nawet kiedy u jakichś figur z otoczenia Ludwika XIV spotykamy znamiona dworności w listach pisanych do ostatniego człowieka, niezdolnego zdać się im na nic, czujemy się zdumieni, bo to odsłania nam nagle u tych wielkich panów cały świat pojęć, których nie wyrażają nigdy wprost, ale którymi się rządzą, w szczególności zaś przeświadczenie, że należy przez grzeczność udawać pewne uczucia oraz najskrupulatniej przestrzegać pewnych form dworności.

Ta urojona odległość od przeszłości jest może jedną z przyczyn tłumaczących, że nawet wielcy pisarze dopatryli się genialnego piękna w dziełach miernych mistyfikatorów jak Osjan<sup>591</sup>. To, aby prastarzy bardowie mogli mieć nowoczesne myśli, zdumiewa nas tak bardzo, że popadamy w zachwyt, jeżeli w rzekomej starej pieśni gaelickiej<sup>592</sup> spotkamy jakąś myśl, która u współczesnego poety wydałaby się nam ot, dosyć zgrabną. Utalentowanemu tłumaczowi starożytnego, a mniej lub bardziej wiernie odtwarzanego autora wystarczy dodać do tekstu ustępy, które, podpisane współczesnym nazwiskiem i wydane oddzielnie, wydałyby się ledwie niezłe; natychmiast przyda tym jakąś wzruszającą wielkość swemu poecie, grającemu w ten sposób na klawiaturze kilku wieków. Tłumacz ów zdolny był dać jedynie mierną książkę — gdyby tę książkę wydano jako oryginał. Podana jako przykład — wydaje się przykładem arcydzieła. Przeszłość bynajmniej nie pierzcha, pozostaje w miejscu. Dopiero po miesiącach trwania wojny prawa uchwalone bez pośpiechu mogą na nią skutecznie oddziaływać; w piętnaście lat po niewykrytej zbrodni sędzia może jeszcze znaleźć materiały, które posłużą do jej wyświecenia; ba, po całych wiekach uczony badający w odległej strefie toponimię i obyczaje mieszkańców zdoła w nich jeszcze odkryć jakąś legendę wcześniejszą od chrześcijaństwa, już niezrozumiałą — o ile nie zapomnianą — za czasu Herodota<sup>593</sup>, a która w nazwie jakiejś skały, w obrzędzie religijnym trwa w pełni teraźniejszości niby gęstsza, odwieczna i stała emanacja. Istniała też —

<sup>590</sup> *Hannibal Barkas* (246–183 p.n.e.) — wybitny wódz kartagiński; rozpoczął II wojnę punicką, wslawił się przeprowadzeniem 60-tysięcznej armii, łącznie ze słoniami bojowymi, z Hiszpanii przez Pireneje i Alpy do Italii, czym zaskoczył swoich wrogów, Rzymian, oraz umiejętnościami taktycznymi (m.in. bitwa pod Kannami w 216 p.n.e.). [przypis edytorski]

<sup>591</sup> *Osjan* — legendarny wojownik i bard celtycki, bohater średniowiecznych podań; miał być autorem rzekomo starożytnych poematów celtyckich, *Pieśni Osjana*, opublikowanych w 1760 przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego; mimo że w 1805 starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie. [przypis edytorski]

<sup>592</sup> *gaelicki* — szkocki język z grupy języków celtyckich. [przypis edytorski]

<sup>593</sup> *Herodot z Halikarnasu* (ok. 484–ok. 426 p.n.e.) — historyk grecki, nazywany „ojcem historii”, autor pierwszego zachowanego greckiego dzieła prozą pt. *Dzieje*, opisującego w 9 księgach wojny grecko-perskie

o wiele mniej starożytna — emancjacja dworskiego życia, jeżeli nie w manierach pana de Guermantes — często pospolitych — to bodaj w duchu, który nimi władał. Miałem się nią jeszcze napawać, niby dawnym zapachem, odnalazłszy ją nieco później w salonie. Bo nie udałem się tam od razu.

Mijając się, wspomniałem panu de Guermantes, że bardzo bym pragnął obejrzeć jego Elstiry.

— Jestem na pańskie rozkazy. Więc pan jest w przyjaźni z Elstirem? Znam go trochę, miły człowiek, to, co nasi ojcowie nazywali „godny człowiek”; niezmiernie boleję, byłbym go mógł poprosić, aby nam uczynił ten zaszczyt i raczył dziś przyjść na obiad. Byłby z pewnością nader szczęśliwy, mogąc spędzić ten wieczór w pańskim towarzystwie.

Będąc w lichym stylu *ancien régime*, kiedy się silił na to, książę nabierał stylu późnej niechęcy. Spytawszy mnie, czy sobie życzę, aby mi pokazał te obrazy, poprowadził mnie, cofając się z wdziękiem i przepraszając, ilekroć, aby mi wskazać drogę, musiał przejść przodem: scena, którą (od czasu gdy Saint-Simon opowiada, że przodek Guermantów robił mu honory swego pałacu z tą samą skrupulatnością w dopełnianiu błahych powinności wielkiego pana) musiało odgrywać wielu innych Guermantów dla wielu innych gości, zanim się wreszcie osunęła do nas. Że zaś zwierzyłem się księciu, że rad bym zostać chwilę sam z tymi obrazami, wyszedł dyskretnie, prosząc, abym potem przyszedł do salonu.

Ale znalazłszy się sam na sam z Elstirami, zapomniałem zupełnie godziny i obiadu. Znów, jak w Balbec, miałem przed sobą fragmenty tego świata o nieznanym kolorach, będącego jedynie projekcją, wizją swoistą dla wielkiego malarza, nietłumaczącą się bynajmniej w jego słowach. Partie ścian pokryte jego płótnami, jednolitymi w charakterze, były niby obrazy latarni magicznej, którą była w danym wypadku głowa artysty, a której dziwności nie można by się domyślać, póki by się znało jedynie człowieka, to znaczy: póki by się widziało tylko latarnię i lampę przed wsunięciem kolorowego szkiełka. Niektóre z tych obrazów — te, co się wydawały wytwornej publiczności najpociesniejsze — interesowały mnie bardziej od innych, tym mianowicie, że odtwarzały owe złudzenia optyczne, dowodzące, iż bez udziału rozumowania nie byłibyśmy zdolni zidentyfikować przedmiotów. Ileż razy, jadąc powozem, odkrywamy długą jasną ulicę zaczynającą się o kilka metrów od nas, gdy w istocie mamy przed sobą jedynie kawałek mocno oświetlonej ściany, dającej nam złudę głębi. Z tą chwilą, czy nie jest logiczne — nie jako sztuczka symbolizmu, ale przez szczerą powrót do samego źródła wrażeń — przedstawić jedną rzecz jako ową drugą, którą wzięliśmy za nią w błyskawicy pierwotnego złudzenia? Powierzchnie i bryły są w rzeczywistości niezależne od nazw przedmiotów, jakie narzuca im nasza pamięć, skorośmy je poznali. Elstir starał się to, co wiedział, wyrwać z tego, co odczuł; usiłowaniem jego było często rozsądzić to skupienie rozumowań, które nazywamy widzeniem.

Ci, co nie cierpieli tych „okropności”, dziwili się, że Elstir wielbi Chardina<sup>594</sup>, Perroneau<sup>595</sup>, tyłu malarzy, których oni, ludzie światowi, lubili. Nie zdawali sobie sprawy, że Elstir na swoją rękę powtórzył w obliczu natury (przy swoistej skłonności do pewnych prób) to samo usiłowanie co jakiś Chardin lub Perroneau; tym samym, oderwawszy się od swojej pracy, podziwiał w nich analogiczne dążenia, niemal antycypowane fragmenty swoich dzieł. Ale ludzie światowi nie dopełniali w myśli dzieła Elstira ową perspektywą Czasu, która im pozwalała lubić obrazy Chardina lub bodaj oglądać je bez uprzedzeń. A przecież najstarsi z nich widzieli w ciągu swego życia, iż — w miarę jak lata oddalały ich od tych zjawisk — nieprzebyta odległość między tym, co uważali za arcydzieło Ingres<sup>596</sup>, a tym, co wedle nich powinno pozostać na zawsze ohydą (na przykład *Olimpia*

Artysta

oraz zawierającego cenne informacje o geografii, historii, wierzeniach i obyczajach Hellady oraz różnych krajów wchodzących wówczas w skład imperium perskiego, a także ludów ościennych. [przypis edytorski]

<sup>594</sup>Chardin, Jean (1699–1779) — francuski malarz, mistrz scen rodzajowych i martwej natury. [przypis edytorski]

<sup>595</sup>Perroneau, Jean-Baptiste (1715–1783) — francuski malarz i grafik, portrecista, posługiwał się głównie pastelami. [przypis edytorski]

<sup>596</sup>Ingres, Jean-Auguste-Dominique (1780–1867) — francuski malarz historyczny i portrecista, jeden z najwybitniejszych artystów francuskich XIX w.; autor m.in. obrazu *Wielka odaliska* (1814), przedstawiającego leżącą nagą kobietę z haremu. [przypis edytorski]

Maneta<sup>597</sup>), zmniejsza się tak bardzo, że oba płótna robią wręcz wrażenie dwóch bliźniąt. Ale świat nie korzysta z żadnej nauki, bo nie umie zstąpić do ogólnych pojęć i wyobraża sobie zawsze, że znajduje się w obliczu zjawiska niemającego przykładu w przeszłości.

Ze wzruszeniem odnalazłem na dwóch obrazach (bardziej realistycznych, z wcześniejszej maniery) tego samego pana, raz we fraku w swoim salonie, drugi raz w marynarce i w cylindrze na zabawie ludowej nad wodą, gdzie najoczywściej był nie na swoim miejscu; co dowodziło, że dla Elstira był nie tylko zwyczajnym modelem, ale przyjacielem, może protektorem, którego — jak niegdyś Carpaccio<sup>598</sup> jakichś dygnitarzy weneckich, i to zupełnie podobnych — lubił pakować w swoje obrazy. Tak Beethoven<sup>599</sup> znajdował przyjemność w tym, aby na czele ulubionego dzieła wypisać drogie imię arcyksięcia Rudolfa<sup>600</sup>.

Ta zabawa nad wodą miała coś uroczego. Rzeka, suknie kobiet, żagle, niezliczone odbicia tego wszystkiego sąsiadowały na barwnym prostokącie, jaki Elstir wyciął z cudownego popołudnia. To, co zachwycało w sukni kobiety przestającej na chwilę tańczyć z powodu upału i zdyszaną, połyskiwało także — i w ten sam sposób — na płótnie nieruchomego żagla, w wodzie małej zatoki, na drewnianym mostku, w liściach i w niebie. Jak na jednym z obrazów, które oglądałem w Balbec, szpital, równie piękny pod lazurowym niebem jak sama katedra, zdawał się — śmieiej niż Elstir teoretyzujący, niż Elstir-esteta zakochany w średniowieczu — śpiewać: „Nie ma gotyku, nie ma arcydzieł, szpital bez stylu wart jest tyleż co wspaniały portal”, tak samo słyszałem: „Ta nieco pospolita dama, na którą przechadzający się pięknoduch nie raczyłby spojrzeć, którą by wygnał z poetycznego obrazu, jaki natura roztacza przed jego oczami, ta kobieta jest także piękna, suknia jej odbija to samo światło co ten żagiel; nie ma rzeczy bardziej lub mniej cennych, pospolita suknia i żagiel ładny sam w sobie to są dwa zwierciadła tego samego odbicia, cała wartość jest w spojrzeniu malarza”. Otóż ten malarz umiał nieśmiertelnie zatrzymać ruch godzin w owej promiennej chwili, gdy damie zrobiło się gorąco i gdy przestała tańczyć, kiedy drzewo okolił krąg cienia, kiedy żagle zdawały się ślizgać po złotym werniksie. Ale właśnie dlatego że chwila ciążyła na nas z taką siłą, to tak utrwalone płótno dawało wrażenie najbardziej ulotne, czuło się, że dama za chwilę się odwróci, że łódzie znikną, że cień zmieni miejsce, że przyjdzie noc, przyjemność się kończy, życie mija i że chwile, pokazane naraz tyłoma sąsiadującymi z sobą światłami, nie wracają.

Jeszcze jeden aspekt, zupełnie inny co prawda, tego, czym jest chwila, poznałem w kilku akwarelach mitologicznych, datujących z początków Elstira i również zdołających ten salon. Światowcy „zaawansowani” posuwali się „aż do” tej maniery, ale nie dalej. Nie były to z pewnością najtęższe dzieła Elstira, ale sama szczerość, z jaką potraktowano temat, odejmowała mu chłód. Muzy na przykład były przedstawione tak, jakby można przedstawić istoty z gatunku kopalnego; z tym że w czasach mitologicznych nie byłoby niezwykle widzieć je po dwie lub trzy, wieczorem, idące górską ścieżką. Czasami jakiś poeta, z rasy również mającej dla zoologa odrębną indywidualność (wyróżającą się czymś jakby aseksualnym) przechadzał się z Muzą, jak w naturze istoty należące do odrębnych gatunków, ale zaprzyjaźnione i chodzące parami. Na jednej z tych akwarel widziało się wyczerpanego długą przechadzką górską poetę, którego spotkany centaur, współczując jego zmęczeniu, bierze na grzbiet i odnosi do domu. Na innych rozległy pejzaż (gdzie scena mityczna, bajeczni bohaterowie zajmują maleńko miejsca i są jakby zgubieni) oddany jest od szczytów aż do morza z dokładnością malującą już nie godzinę, ale minutę danej chwili, dzięki ścisłemu kątowni nachylenia słońca, dzięki ulotnej dokładności cieniów. W ten sposób artysta daje symbolowi mitu, ustalając go co do chwili, rodzaj przeżytej historycznej rzeczywistości; maluje ten symbol i opowiada go w czasie przeszłym dokonany.

Podczas gdy się przyglądał obrazom Elstira, dzwonki nowych gości rozlegały się bez przerwy, hipnotyzując mnie łagodnie. Ale cisza, która nastąpiła po nich i trwała już

<sup>597</sup>Manet, Édouard — malarz francuski, prekursor impresjonizmu; autor m.in. obrazu *Olimpia* (1865), przedstawiającego nagą kobietę, prostytutkę. [przypis edytorski]

<sup>598</sup>Carpaccio, Vittore (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>599</sup>Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

<sup>600</sup>Habsburg, Rudolf Johann (1788–1831) — austriacki arcybiskup, najmłodszy syn cesarza Leopolda II, uczeń i mecenas Beethovena. [przypis edytorski]

od dłuższego czasu, obudziła mnie w końcu — mniej szybko co prawda — z mojego marzenia, tak jak w *Cyruliku*<sup>601</sup> wyrwa Bartola ze snu cisza następująca po muzyce Lindora. Złakłem się, że o mnie zapomniano, że już wszyscy siedzą przy stole, i udałem się spiesznie do salonu. W drzwiach gabinetu z Elstirami ujrzałem lokaja, który — siwy czy upudrowany, sam nie wiem — czekał z miną hiszpańskiego ministra, ale okazując mi ten sam szacunek, jaki złożyłby u stóp króla. Uczulem z jego miny, że byłby na mnie czekał jeszcze godzinę, i pomyślałem z dreszczem zgrozy o opóźnieniu, jakie spowodowałem w obiedzie, zwłaszcza że przyrzekł być o jedenastej u pana de Charlus.

Idąc, spotkałem owego młodego lokaja, ofiarę odźwiernego; kiedym go spytał o narzeczoną, powiedział mi, promieniejąc szczęściem, że właśnie jutro oboje mają wychodne, że będzie mógł z nią spędzić cały dzień, sławił dobroć księżnej pani. Tymczasem hiszpański minister zaprowadził mnie do salonu; bałem się, że tam zastanę pana de Guermantes w złym humorze. Przeciwnie, przyjął mnie z radością, oczywiście po części sztuczną i konwencjonalną, ale skądinąd szczerą, natchnioną i jego żołądkiem, wygłodzonym przez tę zwłokę, i poczuciem podobnej niecierpliwości u gości, którzy wypełnili salon. Dowiedziałem się w istocie później, że czekano na mnie blisko trzy kwadranse. Książę de Guermantes pomyślał z pewnością, że przedłużyć powszechną męczarnię jeszcze o dwie minuty jest już rzeczą bez znaczenia i że skoro grzeczność kazała mu przewlec tak długo chwilę siadania do stołu, grzeczność ta byłaby zupełniejsza, gdyby, nie każąc podawać natychmiast, zdołał mnie przekonać, że się nie spóźnił i że na mnie nie czekano. Toteż spytał mnie — tak jakbyśmy mieli jeszcze godzinę czasu do obiadu i jakby jeszcze brakowało niektórych gości — jak mi się podobały Elstiry. Ale równocześnie, pokrywając niecierpliwość swego żołądka, nie chcąc tracić ani sekundy dłużej, przystąpił wraz z księżną do prezentacji. Wówczas dopiero spostrzegłem, iż spełniała się dokoła mnie — który do tego dnia (z wyjątkiem salonu pani Swann) przywykłem u nas w domu, w Combray i w Paryżu, do protekcyjnych lub wymuszonych manier nadąsanych mieszczek, traktujących mnie jak dziecko — zmiana dekoracji, podobna tej, jaka wprowadza nagle Parsifala<sup>602</sup> między żywe kwiaty. Te, co mnie otaczały, głęboko wydekoltowane (ciało ich lśniło się po dwóch stronach krętej gałązki mimozy lub pod szerokimi płatkami róży), witając się ze mną, obejmowały mnie długimi pieszczącymi spojrzeniami, jak gdyby sama tylko nieśmiałość wzbraniała im uściskać mnie. Niejedna z tych kobiet była mimo to wzorem cnoty; niejedna, nie wszystkie, bo najcnotliwsze nie miały w stosunku do mniej surowych owej odrazy, jaką by czuła na przykład moja matka. Grzeszki tego rodzaju, negowane wbrew oczywistości przez święte przyjaciółki, najwyraźniej miały w świecie Guermantów o wiele mniej znaczenia niż stosunki, jakie ktoś umiał zachować. Udawano nieświadomość, że ciało jakiejś damy przechodziło z rąk do rąk, byle „salon” jej pozostał nietknięty.

Książę bardzo mało liczył się ze swymi gośćmi (co do których, jak oni co do niego, od dawna nie miał złudzeń), ale bardzo liczył się ze mną, którego gatunek wyższości, będąc mu nieznany, budził w nim po trosze ten sam rodzaj szacunku, co w wielkich panach na dworze Ludwika XIV ministrowie-mieszczanie. Uważał najoczywiściej, że fakt nieznania jego gości nie ma żadnego znaczenia, jeżeli nie dla nich, to bodaj dla mnie; i gdy ja się troskał, z jego powodu, o wrażenie, jakie zrobię na nich, książę troszczył się jedynie o to, jakie wrażenie oni zrobią na mnie.

Na wstępie zresztą zdarzyło się podwójne *imbroglio*<sup>603</sup>. W istocie, ledwiem wszedł do salonu, pan de Guermantes, nie pozwalając mi nawet przywitać się z księżną, powiódł mnie ku niedużej damie, z miną człowieka chcącego sprawić jej miłą niespodziankę, zdając się mówić: „O, jest pani przyjaciel, widzi pani, przynoszę go pani za kark”. Otóż, zanim jeszcze, popychany przez księcia, dotarłem do niej, dama ta nie przestawała mi ślać swoimi dużymi i łagodnymi oczami tysiąca porozumiewawczych uśmiechów, takich, jakie zwracamy do dawnego znajomego, który nas może nie poznaje. Ponieważ byłem właśnie w tym położeniu i nie umiałem sobie przypomnieć, kto to taki, odwracałem

<sup>601</sup> *Cyrulik sewilski* — opera Gioacchino Rossiniego z 1816, na podst. francuskiej komedii Pierre’a Beaumarchais’go z 1775 pod tym samym tytułem. [przypis edytorski]

<sup>602</sup> *Parsifal* — jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala; bohater dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera pt. *Parsifal*, luźno opartego na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha. [przypis edytorski]

<sup>603</sup> *imbroglio* (wł.) — dosł.: zamieszanie, zamęt; zawila intryga sceniczna. [przypis edytorski]



głowę, posuwając się naprzód, tak aby nie musieć odpowiedzieć na te spojrzenia do chwili, gdy prezentacja wydobędzie mnie z kłopotu. Przez ten czas dama nadal utrzymywała w chwiejnej równowadze swój przeznaczony dla mnie uśmiech. Robiła wrażenie, że jej jest pilno pozbyć się go i że czeka, abym powiedział wreszcie: „Ależ tak, rozumie się! Jaka mama będzie szczęśliwa, żeśmy się spotkali!” Było mi równie pilno dowiedzieć się jej nazwiska, jak jej ujrzeć, że się kłaniam wreszcie ze świadomością rzeczy i że jej uśmiech, wytrzymywany bez końca niby nuta *gis*, może się wreszcie skończyć. Ale pan de Guermantes pokpił sprawę, moim zdaniem przynajmniej; miałem wrażenie, że przedstawił tylko mnie, tak iż wciąż nie wiedziałem, kim jest ta pseudonieznaną, niemającą tego natchnienia, aby wymienić swoje nazwisko, tak bardzo racje naszej zażyłości, ciemne dla mnie, zdawały się jej jasne.

W istocie, skorom się znalazł przy niej, nie podała mi ręki, ale ujęła poufale moją i mówiła do mnie tonem takim, jak gdybym był — na równi z nią — świadom miłych wspomnień, jakie ona odnajduje w pamięci. Powiedziała mi, jak bardzo Albert (domyśliłem się, że to jej syn) będzie żałował, że nie mógł przyjść. Szukałem między dawnymi kolegami jakiegoś Alberta; znalazłem tylko Blocha, ale osoba, którą miałem przed sobą, nie mogła być matką Blocha, zmarłą od wielu lat. Próżno sililem się odgadnąć wspólną przeszłość, jaką ona najwyraźniej odnajduje w myśli. Ale tak samo nie dojrzałem jej poprzez przeświecający agat<sup>604</sup> szerokich i słodkich żrenic przepuszczających jedynie uśmiech, jak nie poznaje się krajobrazu rozciągającego się za czarną szybą, nawet rozplamioną słońcem. Spytała mnie, czy mój ojciec nie zanadto się męczy; czy nie chciałbym któregoś dnia iść do teatru z Albertem; czy jestem mniej cierpiący; że zaś moje odpowiedzi, potykające się w duchowym mroku, stały się wyraźniejsze jedynie w objaśnieniu, że się nie czuję dobrze tego wieczora, dama ta podsunęła mi sama krzesło, świadcząc mi tysiąc grzeczności, do jakich mnie nie przyzwyczaili inni przyjaciele rodziców. Wreszcie książę wydał mi słowo zagadki<sup>605</sup>: „Zachwycona jest panem” — szepnęła, a słowa te zabrzmiały w moim uchu czymś znajomym. To były te same słowa, które pani de Villeparisis powiedziała babce i mnie, kiedyśmy poznali księżnę de Luxembourg. Wówczas zrozumiałem wszystko: obecna dama nie miała nic wspólnego z panią de Luxembourg, ale z wysłowienia osoby, która mnie nią raczyła, poznałem gatunek zwierzyny. To była *Księżęca Wysokość*. Nie znała ani trochę mojej rodziny ani mnie, ale wiodąc się z najszlachetniejszego rodu i posiadając największy majątek w świecie (będąc bowiem córką księcia Parmy, zaślubiła kuzyna również z panującej rodziny), pragnęła, w swojej wdzięczności dla Stwórcy, okazać bliźniemu, choćby najbiedniejszemu lub najniżej urodzonemu, że nim nie gardzi. Prawdę mówiąc, z uśmiechów jej mogłem to być zgadnąć; widziałem, jak księżna de Luxembourg kupowała na plaży bułeczki, aby je dawać mojej babce niby sarnie w zoologicznym ogrodzie. Ale to była dopiero druga księżniczka krwi, której mnie przedstawiono; można by tedy darować, że nie wyodrębnił ogólnych cech dostojnej uprzejmości. Zresztą, czyż sami ci wielcy nie postarali się uprzedzić mnie, abym nie liczył zbyt mało na tę uprzejmość? Toż księżna de Guermantes, tak kiwająca do mnie ręką w Opera-Comique, była wyraźnie wściekła, kiedy się jej kłaniał na ulicy, jak ludzie, którzy dawszy raz komuś Ludwika, myślą, że się z nim już załatwili na zawsze. Co do pana de Charlus, jego przyływy i odpływy stwarzały jeszcze większe kontrasty. A z czasem poznałem, jak się pokaże, książęce wysokości i królewskie moście innego typu, królowe, które grają królowe i mówią nie na sposób im równych, ale jak królowe w sztukach Sardou<sup>606</sup>.

Jeżeli pan de Guermantes tak się pospieszył z moją prezentacją, to dlatego, iż fakt, aby się znajdował w towarzystwie kogoś nieznanego królewskiej wysokości, jest czymś niedopuszczalnym i nie może się przeciągać ani przez sekundę. To był ten sam pośpiech, z jakim Saint-Loup żądał, abym go przedstawił babce. Poza tym, przez pozostałość z życia dworów, która się zwie dwornością i która nie jest czymś powierzchownym, ale w której, przeciwnie, siłą jakiegoś przenicowania, powierzchnia staje się samą głębią rzeczy, oboje księstwo de Guermantes uważali za obowiązek ważniejszy od dość często zaniedbywanych

<sup>604</sup>*agat* — minerał półszlachetny o różnobarwnych pasmach, używany gł. w jubilerstwie. [przypis edytorski]

<sup>605</sup>*słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

<sup>606</sup>*Sardou, Victorien* (1831–1908) — francuski dramaturg, autor sztuk o starannie skonstruowanym schemacie akcji, cieszących się dużą popularnością w Europie i Ameryce. [przypis edytorski]

obowiązków miłości bliźniego, czystości, miłosierdzia i sprawiedliwości, za obowiązek nad wszystkie niezłomny — to, aby mówić do księżnej Parmy jedynie w trzeciej osobie.

Skoro nie byłem nigdy dotąd w Parmie (czego pragnąłem od czasu jakże dawnych już ferii wielkanocnych), poznanie księżnej tej Parmy, księżnej, która — wiedziałem o tym — posiadała najpiękniejszy pałac w tym jedynym mieście, gdzie wszystko zresztą musiało być jednolite, tak bardzo było ono zizolowane od reszty świata, wśród gładkich ścian, w atmosferze swojej zwartej i zbyt słodkiej nazwy, dusznej niby letni wieczór bez powietrza na placu małego włoskiego miasteczka, powinno by podstawić nagle realną Parmę pod tę, którą sobie starałem wyobrazić. Był to surogat przybycia do tego miasta bez ruszenia się z miejsca; było to, w algebrze podróży do miasta Giorgionego<sup>607</sup>, niby pierwsze równanie o tej niewiadomej. Ale o ile od wielu lat nasyciłem — jak fabrykant perfum nasyca lity blok tłustej substancji — nazwisko księżnej Parmy zapachem tysięcy fiołków, w zamian za to, odkąd ujrzałem księżną, którą byłbym dotąd sobie wyobrażał jako jakąś co najmniej Sanseverinę<sup>608</sup>, zaczął się drugi proces, który, prawdę mówiąc, skończył się dopiero w kilka miesięcy później, a który polegał na usuwaniu z nazwiska księżnej, przy pomocy nowych chemicznych procesów, wszelkiego właściwego fiołkom olejku i wszelkiego stendhalowskiego zapachu i na wprowadzeniu w to miejsce obrazu czarniawej kobietki, pochłoniętej dobroczynnością i roztaczającej uprzejmość tak pokorną, że pojmowało się natychmiast, z jakiej wyniosłej dumy ta uprzejmość bierze początek. Zresztą, podobna — z drobnymi różnicami — do innych wielkich dam, księżna ta równie mało była stendhalowska, jak na przykład w Paryżu, w Quartier de l'Europe<sup>609</sup>, ulica Parmeńska, o wiele mniej podobna do nazwy Parmy niż do wszystkich sąsiednich ulic, i o wiele mniej budząca myśl o pustelni, gdzie umiera Fabrycy, niż o poczekalni dworca Saint-Lazare.

Uprzejmość księżnej Parmy płynęła z dwóch przyczyn. Jedną, ogólną, było wychowanie, jakie otrzymała ta córka monarsza. Matka księżniczki (nie tylko spokrewniona ze wszystkimi panującymi domami Europy, ale jeszcze — w przeciwieństwie do książęcego domu Parmy — bogatsza od niejonej monarchini) wszczepiła jej od najmłodszych lat pysznie pokorne zasady ewangelicznego snobizmu; i teraz każdy rys twarzy córki, spadek jej ramion, każdy gest, zdawały się powtarzać. „Pamiętaj, że jeżeli Bóg dał ci się urodzić na stopniach tronu, nie powinnaś dlatego gardzić tymi, nad których boska Opatrzność (za co niech będzie pochwalona) raczyła cię wywyższyć urodzeniem i majątkiem. Przeciwnie, bądź dobra dla maluczkich. Twoi przodkowie byli książętami Cleves i Juliers<sup>610</sup> od roku 647; Bóg chciał w swojej dobroci, abyś posiadała prawie wszystkie akcje Suez<sup>611</sup> i trzy razy tyle Royal Dutchów<sup>612</sup> co Edmund Rothschild<sup>613</sup>; rodowód twój w prostej linii ustalony jest przez heraldyków od roku 63 ery chrześcijańskiej; masz dwie szwagierki cesarsowe. Toteż w rozmowie nie sprawiaj nigdy wrażenia, że sobie przypominasz o tak wielkich przywilejach; nie iżby były znikome (bo niepodobna coś zmienić w dawności rodu, a zawsze świat będzie potrzebował nafty); ale zbyt jest okazywać, że jesteś lepiej urodzona od innych i że twój majątek ulokowany jest *prima*, skoro każdy o tym wie. Bądź miłosierna dla nieszczęśliwych. Wszystkim tym, których łaska niebios pomieściła poni-

<sup>607</sup>Giorgione, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą: niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

<sup>608</sup>Sanseverina, *Gina* — postać literacka z *Pustelni parmeńskiej* Stendhala: ciotka Fabrycego del Dongo, która została księżną Parmy. [przypis edytorski]

<sup>609</sup>Quartier de l'Europe (fr.: Dzielnica Europejska) — dzielnica Paryża, w której ulice noszą nazwy miast europejskich. [przypis edytorski]

<sup>610</sup>Clèves i Juliers (fr.) — miasto Kleve w ob. zach. Niemczech oraz miasto Jülich w Holandii; w XI w. uformowały się wokół nich hrabstwa, które w XIV–XV w. zostały przekształcone w księstwa, wchodzące w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; w 1521 księstwa Jülich, Berg, Kleve i Mark połączyły się, tworząc Zjednoczone Księstwa Jülich-Kleve-Berg. [przypis edytorski]

<sup>611</sup>akcje Suez — akcje Kompanii Kanału Sueskiego, zarządzającej zbudowanym w 1859–1869 Kanałem Sueskim, który połączył M. Śródziemne z M. Czerwonym, umożliwiając Europejczykom żeglugę do Indii bez opływania Afryki; w 1956 kanał został znacjonalizowany przez władze egipskie. [przypis edytorski]

<sup>612</sup>Royal Dutch (pot.) — Royal Dutch Petroleum Company (niderl.: Koninklijke Nederlandse Petroleum Maatschappij), dawna holenderska spółka wydobywcza; w 1907 połączona ze spółką brytyjską, utworzyła obecny koncern Shell. [przypis edytorski]

<sup>613</sup>Rothschild, *Edmond James de* (1845–1934) — francuski kolekcjoner i mecenas sztuki pochodzenia żydowskiego, członek słynącej z bogactwa międzynarodowej rodziny Rothschildów. [przypis edytorski]

żej ciebie, oddawaj to, co im możesz oddać, nie uchybiając swemu stanowisku; to znaczy pomoc pieniężną, nawet miłosierdzie samarytańskie, ale, rozumie się, nigdy zaproszeń na swoje wieczory, co by im nie przyniosło żadnej korzyści, a w zamian, zmniejszając twój *prestige*<sup>614</sup>, uszczupliłoby skuteczność twojej dobroczynnej działalności”.

Toteż nawet w chwilach, w których nie mogła świadczyć dobrego, jej wysokość starała się okazać lub raczej przekonać wszystkimi zewnętrznymi oznakami niemej wymowy, że się nie uważa za wyższą od osób, wśród których się znajdowała. Miała dla każdego ową uroczą grzeczność, jaką mają dla niższych ludzie dobrze wychowani; co chwila, aby się okazać użyteczną, usuwała swoje krzesło, aby zostawić więcej miejsca; trzymała moje rękawiczki, ofiarowywała mi się ze wszystkimi usługami, niegodnymi dumnych mieszczek, które to usługi bardzo chętnie oddają królowe lub też — przez zawodowy nawyk — dawni lokaje.

Ale już ksiązę, któremu wyraźnie było pilno skończyć z prezentacjami, pociągnął mnie ku innej wytwornej pani. Usłyszawszy nazwisko damy, rzekłem, iż zdarzyło mi się przejeżdżać koło jej zamku, w pobliżu Balbec.

— Och, jaka byłabym szczęśliwa, mogąc go panu pokazać — rzekła prawie cicho, jak gdyby z nadmiaru skromności, ale tonem pełnym uczucia, z żalem, że ją minęła ta rzadka przyjemność. Z wiele mówiącym spojrzeniem dama dodała: — Miejmy nadzieję, że nie wszystko stracone. I muszę wyznać, że najbardziej zainteresowałby pana zamek mojej ciotki Brancas; budował go Mansard<sup>615</sup>, to perła całej prowincji.

Nie tylko więc ona sama byłaby rada pokazać mi swój zamek, ale ciotka jej, księżna de Brancas, z nie mniejszym zachwytem robiłaby mi honory swojego zamku, wedle zapewnień tej damy, uważającej z pewnością, że zwłaszcza w epoce, gdy ziemia przechodzi w ręce wzbogaconych prostaków, ważne jest, aby wielcy panowie podtrzymywali wysokie tradycje pańskiej gościnności za pomocą słów niezobowiązujących do niczego. A także ponieważ starała się, jak wszystkie osoby jej świata, mówić rzeczy zdolne komuś zrobić najwięcej przyjemności, dać mu najwyższe pojęcie o nim samym, sprawić, by wierzył, że pochlebia tym, do których pisze, że czyni zaszczyt swoim gospodarzom, że wszyscy płoną chęcią poznania go. Ta chęć dania innym milego pojęcia o nich samych zdarza się czasem nawet w sferach mieszczańskich. Spotyka się tam tę uprzejmość — jako osobisty przymiot, kompensujący jakąś wadę — niestety nie u najpewniejszych przyjaciół, ale bodaj u najmilszych partnerek. W każdym razie zakwita tam ona pojedynczo. Przeciwnie, w przeważnej części arystokracji ten rys charakteru przestał być indywidualny; pielęgnowany wychowaniem, podtrzymywany poczuciem własnej wielkości, która nie boi się upokorzyć, która nie ma rywalów, wie, że swoją uprzejmością może kogoś uszczęśliwić, i lubi to czynić — rys ten stał się plemienną cechą kasty. I nawet ci, którym zbyt sprzeczne temu rysowi osobiste wady nie pozwalają go zachować w sercu, noszą nieświadomy jego ślad w słownictwie lub w gestach.

— To bardzo dobra kobieta — rzekł do mnie pan de Guermantes, mówiąc o księżnej Parmy — przy tym umie być „wielką damą” jak nikt.

Podczas gdy mnie przedstawiano paniom, jeden z obecnych zdradzał niezwykle podniecenie: był to hrabia Hannibal de Bréauté-Consalvi. Przybywszy późno, nie miał czasu wywiedzieć się o uczestników; ujrawszy tedy w mojej osobie gościa nienależącego do towarzystwa księżnej i posiadającego zapewne tym samym zupełnie niezwykle tytuły, aby się w nim znaleźć, hrabia zasadził pod sklepionym łukiem brwi monokl, sądząc, że mu to znakomicie pomoże rozpoznać, do jakiego gatunku ludzi należą. Pani de Guermantes posiadała (cenny przywilej kobiet naprawdę niepospolitych) to, co się nazywa „salonem”; to znaczy do ludzi swego świata dorzucała czasami jakąś znakomitość, którą postawiło świeżo na świeczniku odkrycie jakiegoś leku lub stworzenie arcydzieła. Wielki świat był jeszcze pod wrażeniem faktu, że na przyjęcie dla królestwa angielskich księżna Oriana nie lękała się zaprosić pana Detaille<sup>616</sup>. Inteligentne kobiety z tego świata były niepokieszone, że ich nie zaproszono, tak rozkoszny dreszczyk przeczuwały w zbliżeniu się do

<sup>614</sup>*prestige* (fr.) — poważanie, prestiż. [przypis edytorski]

<sup>615</sup>*Mansard, François* (1598–1666) — francuski architekt epoki baroku; spopularyzował typ dachu na jego cześć nazwany mansardowym. [przypis edytorski]

<sup>616</sup>*Detaille, Édouard* (1848–1912) — francuski malarz akademicki, batalista, szczególnie znany z obrazów ukazujących wojnę francusko-pruską 1870. [przypis edytorski]

tego niezwykłego człowieka. Pani de Courvoisier utrzymywała, że był także pan Ribot, ale to było zmyślenie mające utrwalić pogłoskę, że Oriana stara się wypromować męża na ambasadora. Wreszcie na domiar skandalu, pan de Guermantes, z galanterią godną marszałka saskiego<sup>617</sup>, zjawił się w foyer Komedii Francuskiej i poprosił pannę Reichemberg, aby przysłała recytować wiersze wobec króla, co się też stało i co było faktem bez precedensu w rocznikach rautów.

Na wspomnienie tylu niespodzianek, które zresztą pan de Bréauté aprobował całkowicie — ile że on sam był, na równi z księżną, nie tylko ozdobą, ale i konsekracją wszelkiego salonu — pan de Bréauté, zadając sobie pytanie, kim ja mogę być, czuł, że się przed nim otwiera szerokie pole dociekań. Przez chwilę błysło mu w mózgu nazwisko pana Widor<sup>618</sup>; ale uznał, że jestem zbyt młody, aby być organistą, a pan Widor za mało sławny, aby „bywać”. Naturalniejsze wydało mu się widzieć we mnie po prostu nowego szwedzkiego *attaché*<sup>619</sup>, o którym mu wspomniano; już gotował się mnie spytać o nowiny o królu Oskarze<sup>620</sup>, który kilka razy przyjął go nader łaskawie; ale kiedy książę, przedstawiając mnie panu de Bréauté, wymienił moje nazwisko, ów, widząc, że to nazwisko jest mu absolutnie nieznane, nie wątpił już, iż skoro się tu znajduję, muszę być jakąś sławą. Tak, to było w stylu Oriany, która posiadała sztukę ściągania do swego salonu ludzi wybitnych, w stosunku jeden na sto, oczywiście, gdyż inaczej zdeklasowałyby ten salon. Pan de Bréauté zaczął tedy oblizywać wargi i rozdymać łakome nozdrza, podniecony nie tylko pewnością dobrego obiadu, ale i charakterem zebrania, któremu moja obecność niezawodnie miała przydać smaku, a które dostarczy mu pikantnego tematu nazajutrz przy śniadaniu u jego wysokości księcia de Chartres. Pan de Bréauté nie był jeszcze zdecydowany, czy ja jestem twórcą świeżo wypróbowanej surowicy przeciw-rakowej, czy autorem jednoaktówki będącej w próbach w Komedii Francuskiej; ale jako wielki intelektualista, wielki amator „opisów podróży”, nie przestawał mnożyć dla mnie ukłonów, mrugań, uśmiechów spoza monokla; bądź to w fałszywym mniemaniu, iż zyska w oczach człowieka wartościowego, jeśli mu zdoła wszczepić złudzenie, że dla niego, hrabiego de Bréauté-Consalvi, przywileje myśli nie mniej są godne szacunku niż przywileje urodzenia; bądź po prostu przez potrzebę i trudność wyrażenia swojego zadowolenia, w nieświadomości języka, jakim należało do mnie mówić, w sumie tak jakby się znalazł w obecności jednego z „tubylców” nieznanej ziemi, do której przybiłaby tratwa, i z którymi w nadziei zysku próbowałyby — obserwując równocześnie ciekawie ich obyczaje i nie przerywając wylewów przyjaźni ani wydawania jak oni głośnych okrzyków — zamieniać strusie jaja i korzenie na szkiełka.

Odpowiedziawszy, jak mogłem najlepiej, jego radości, uściśnięciem rękę księcia de Châtellerault, spotkanego już u pani de Villeparisis, o której powiedział mi, że to jest „spryciara”. Ten książę był nadzwyczaj „Guermantes” przez swoje blond włosy, przez orlikowaty profil, przez skazy na skórze policzków — cechy, które się widzi na portretach tej rodziny, przekazanych nam przez wiek XVI i XVII. Ale ponieważ nie kochałem już księżnej, wcielenie jej w postać młodego człowieka było dla mnie bez uroku. Odczytywałem haczyk, jaki tworzył nos księcia de Châtellerault, niby podpis malarza, któremu długo studiował, ale który mnie już przestał interesować. Następnie przywitałem się z księciem de Foix, po czym — na nieszczęście dla moich palców, które wyszły z tego zmaltrretowane — dałem je pochwycić w kleszcze uścisku dłoni w stylu niemieckim, z towarzyszeniem ironicznego czy też dobrodusznego uśmiechu Prinza von Faffenheim. Przez manię przydomków, właściwą temu środowisku, tego przyjaciela pana de Norpois nazywano tak powszechnie „Prinzem Von”, że on sam podpisywał się „Prinz Von” lub kiedy pisał do najbliższych — „Von”. Ten skrót można było jeszcze zrozumieć dla długości tego skomplikowanego nazwiska. Trudniej było ocenić racje, które kazały zastępować Elżbieta to przez „Lili”, to przez „Bietka”, jak w innym świecie roily się „Kiki”. Można pojąć, że mężczyźni — mimo iż na ogół wiodący puste i próżniacze życie — przyjęli formę „Quiou”, aby nie tracić czasu na wymawianie „Montesquiou”. Trudniej zrozumieć, co zyskiwali,

<sup>617</sup>Maurycy Saski (1696–1750) — hrabia saski, wódz i strateg, marszałek Francji. [przypis edytorski]

<sup>618</sup>Widor, Charles-Marie (1844–1937) — francuski organista, kompozytor i nauczyciel akademicki. [przypis edytorski]

<sup>619</sup>*attaché* (fr.) — dyplomata, będący specjalistą w jakiejś dziedzinie. [przypis edytorski]

<sup>620</sup>Oskar II (1829–1907) — król Szwecji (od 1872) oraz Norwegii (1872–1905). [przypis edytorski]

zmieniając imię „Ferdynand” jednego z kuzynów na „Dynand”. Nie trzeba zresztą sądzić, że w swoich przydomkach Guermantowie posługiwali się niezmiennie powtórzeniem sylaby. Tak na przykład dwóch siostr, hrabiny de Montpeyroux i wicehrabiny de Vélude (obie były straszliwie otyłe), nigdy nie nazywano inaczej (o co się wcale nie gniewały i co nawet nie budziło niczyjego uśmiechu, taki zwyczaj był dawny) jak „Malańka” i „Kruszynka”. Kiedy pani de Montpeyroux była poważnie chora, pani de Guermantes, która przepadała za nią, ze łzami w oczach pytała jej siostry: „Słyszałam, że Malańka jest bardzo chora?”. Pani de l’Enclin, osoby noszącej nioby<sup>621</sup> zasłaniające jej całkowicie uszy, nie nazywano nigdy inaczej jak „wilczy głód”. Czasem dla określenia żony zmieniano po prostu końcówkę przy imieniu męża. Pewien człowiek, najbardziej chciwy i nieludzki brudas z całego „towarzystwa”, miał na imię Rafael; otóż jego uroczą żonę, kwiat wyrastający ze skały, podpisywała się „Rafaella”. Ale to są jedynie próbki niezliczonych prawideł, które będziemy może mieli jeszcze sposobność zilustrować.

Poprosiłem księcia, aby mnie przedstawił księciu d’Agrigente.

— Jak to, pan nie zna naszego kochanego Grigri? — wykrzyknął pan de Guermantes i przedstawił mnie panu d’Agrigente.

Nazwisko księcia, tak często cytowane przez Franciszkę, wydawało mi się zawsze ni- by przezroczyste szkło, pod którym widziałem, smagane skośnymi promieniami złotego słońca, nad brzegiem fioletowego morza, różowe sześciany starożytnego miasta, którego — nie wątpię o tym — książę, przelotnym cudem bawiący w Paryżu, jest we własnej osobie, równie promiennie sycylijski i chlubnie patynowany, faktycznym władcą. Niestety, pospolity chrabąszcz, któremu mnie przedstawiono i który wykręcił pirueta, aby się ze mną przywitać z ciężką dezynwolturą<sup>622</sup> mającą wyobrażać elegancję, był równie obcy swemu nazwisku, jak byłby obcy dziełu sztuki, które by posiadał, nie biorąc z niego żadnego odblasku, nie spojrzawszy może na nie nigdy. Książę d’Agrigente był tak całkowicie pozbawiony czegoś książęcego i przywodzącego na myśl Agrigente<sup>623</sup>, że można było doprawdy przypuszczać, iż jego nazwisko, całkowicie odeń wyodrębnione, niezwiązane niczym z jego osobą, posiadało moc wessania w siebie nieuchwytniej poezji zdolnej się kryć w tym człowieku — jak w każdym innym — i zamknięcia jej po tej operacji w zaczarowanych sylabach. Jeżeli taka operacja miała miejsce, była w każdym razie dobrze wykonana, bo nie zostało już ani atomu czaru w tym krewniaku Guermantów. Tak iż on był zarazem jedynym człowiekiem na świecie, który był księciem d’Agrigente, a zarazem może tym, co nim był najmniej. Był zresztą bardzo rad, że nim jest, ale tak jak bankier jest rad, że ma liczne akcje jakiejś kopalni, nie troszcząc się poza tym, czy ta kopalnia nosi piękne imię „Ivanhoe” lub „Primerose”, lub też po prostu nazywa się „Kopalnia Pierwsza”.

Dobiegały wreszcie końca prezentacje tak długie do opowiedzenia, ale które, rozpczęte tuż po moim wejściu do salonu, trwały tylko kilka chwil. Pani de Guermantes błagalnym niemal tonem mówiła do mnie:

— Jestem pewna, że Błażej męczy pana, wodząc tak pana od jednego do drugiego; chcemy, żeby pan znał naszych przyjaciół, ale chcemy przede wszystkim nie zmęczyć pana, żeby pan przychodził często.

Wtem książę dość niezręcznym i nieswobodnym gestem spełnił to, co byłby chciał zrobić od godziny wypełnionej przeze mnie oglądaniem Elstirów: dał znak, że można podawać.

Trzeba dodać, że brakowało jeszcze jednego z zaproszonych, pana de Grouchy, którego żona, z domu Guermantes, przyszła sama, gdyż mąż miał przybyć wprost z polowania. Pan de Grouchy, potomek owego Grouchy<sup>624</sup> z Pierwszego Cesarstwa, o którym fałszywie twierdzono, że jego nieobecność na początku bitwy pod Waterloo stała się główną przyczyną klęski Napoleona, był z doskonałej rodziny, niedostatecznej wszelako dla nie-

<sup>621</sup>nioby (daw.) — pukle włosów na skroniach kobiecych wypukło uczesane na podkładkach; od imienia Niobe, postaci z mit. gr. [przypis edytorski]

<sup>622</sup>dezynwoltura — swobodne, nieco lekceważące podejście do jakiejś kwestii. [przypis edytorski]

<sup>623</sup>Agrigente (fr.) — Agrigento, miasto na południowym wybrzeżu Sycylii. [przypis edytorski]

<sup>624</sup>Grouchy, Emmanuel de (1766–1847) — francuski generał, marszałek Francji (1815) i par Francji; ostatni z marszałków Napoleona Bonaparte; mimo iż słyszał odgłosy bitwy pod Waterloo, wykonał wydane mu uprzednio rozkazy i zaangażował się w walkę z korpusem nieprzyjaciela postawionym celowo przez głównego dowódcę wojsk pruskich z dala od głównego pola bitwy. [przypis edytorski]

których fanatyków szlachectwa. Toteż księżę Gilbert de Guermantes, który w wiele lat później miał być mniej wybredny dla samego siebie, miał zwyczaj mówić siostrzenicom:

— Co za nieszczęście, że ta biedna Guermantes (wicehrabina de Guermantes, matka pani de Grouchy) nie mogła znaleźć mężów dla swoich córek.

— Ależ, wuju, starsza wyszła za pana de Grouchy.

— Ja tego nie nazywam mężem! Ostatecznie, twierdzą, że wuj Franciszek stara się o młodszą; chwała Bogu, nie wszystkie zostaną starymi pannami.

Skoro tylko padł rozkaz, aby podawać do stołu, natychmiast, zakreślając szerokie luki, drzwi do jadalni otwarły się na oścież; marszałek dworu, robiący wrażenie mistrza ceremonii, skłonił się przed księżną Parmy i oznajmił „*Madame est servie*”<sup>625</sup>, tonem podobnym do słynnego „*Madame se meurt*”<sup>626</sup> Bossueta<sup>627</sup>, ale nie zasmucając tym bynajmniej zebranych; z wesołą miną, niby w lecie na spacer, pary posunęły kolejno ku jadalni, rozdzielając się, skoro dotarły do swoich miejsc, gdzie lokaje zasuwali za nimi krzesła. Ostatnia, pani de Guermantes podeszła do mnie, abym ją poprowadził; nie odczułem ani cienia lęku, którego mógłbym się obawiać, bo księżna, której nabyta na łowach zręczność fizyczna uczyniła wdzięk czymś łatwym, widząc z pewnością, że się znalazł po niewłaściwej stronie, okręciła się tak zręcznie dookoła mnie, że uczułem jej ramię na swoim, najnaturalniej w świecie oprawne w rytm precyzyjnych i szlachetnych ruchów. Poddawałem się im swobodnie, ile że Guermantowie przywiązywali do tego nie więcej wagi, niż jej przywiązuje do wiedzy prawdziwy uczonec, wobec którego czujemy się mniej oniesmiełeni niż wobec niedouka. Otwarły się inne drzwi, przez które weszła dymiąca zupa, jak gdyby obiad odbywał się w doskonale urządzonym teatrze marionetek i jak gdyby późne zjawienie się młodego gościa poruszyło, na znak pana domu, wszystkie sprzężyny.

Gest księcia, któremu odpowiedziało puszczenie w ruch tego wielkiego, zmyślnego, posłusznego i wspaniałego mechaniczno-ludzkiego zegara, był raczej nieśmiały, niż majestatyczny i władczy. Niezdecydowanie gestu nie osłabiło mi wrażenia widowiska będącego jego następstwem. Bo czułem, iż w wahaniu się i zakłopotaniu księcia kryła się obawa okazania, że czekano z obiadem tylko na mnie i że czekano długo; tak samo jak pani de Guermantes bała się, aby mnie po oglądaniu tylu obrazów nie zmęczono tyloma prezentacjami i nie przeszkodzono mi wytchnąć. Tak że właśnie brak wspaniałości w geście oddychał prawdziwą wspaniałością. Tak samo jak ta obojętność księcia na własny zbytek, w przeciwieństwie do jego względów dla nieznaczącego gościa, którego chciał uczcić.

Nie przeszkadzało to, iż pan de Guermantes był pod wieloma względami bardzo pospolity, a nawet miał śmieszność człowieka zanadto bogatego, pychę parweniusza, którym nie był. Ale tak samo jak mierne talenty jakiegoś urzędnika lub księdza mnożą się nieskończenie (jak fala mnoży się przez całe morze tłoczące się za nią) przez siły, na których się wspierają — rząd francuski i Kościół katolicki — tak samo pana de Guermantes niosła owa inna siła, najautentyczniejsza grzeczność arystokratyczna. Ta grzeczność wyklucza wiele osób. Pani de Guermantes nie byłaby przyjęła pani de Cambremer ani pana de Forcheville. Ale z chwilą gdy ktoś — w danym wypadku ja — uzyskał prawo wstępu w sferę Guermantów, grzeczność ta odkrywała skarby gościnnej prostoty, wspanialsze jeszcze — o ile to możliwe — niż te stare salony i te cudowne meble, które tam przetrwały.

Kiedy pan de Guermantes chciał komuś zrobić przyjemność, wówczas posiadał prawdziwy kunszt, umiejący wyzyskać miejsce i okoliczności, aby uczynić owego gościa na ten dzień główną osobą. Bez wątpienia w Guermantes „wyróżnienia” jego i „łaski” przybrałyby inną formę. Kazałby zaprząć, aby mnie zabrać we dwójkę na spacer przed obiadem. Człowiek czuł się wzruszony jego przyjęciem, tak jak czytając stare pamiętniki, czuje się wzruszony przyjęciem Ludwika XIV, kiedy król, uśmiechnięty i z lekkim ukłonem, odpowiada z dobrocią jakiemuś petentowi. Bądź co bądź, trzeba w obu wypadkach zrozumieć, że owa dworność nie wychodziła poza ścisłe znaczenie tego słowa.

<sup>625</sup> *Madame est servie* (fr.) — Panią podano. [przypis edytorski]

<sup>626</sup> *Madame se meurt* (daw. fr.) — Pani umarła; wykrzyknienie z najbardziej znanej mowy żałobnej słynnego francuskiego mówcy Bossueta, wygłoszonej po śmierci Henrietty Anny Stuart (1644–1670), żony Filipa I Burbona, księcia Orleanu (brata króla Ludwika XIV). [przypis edytorski]

<sup>627</sup> *Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

Ludwik XIV (któremu fanatycy szlachectwa z owej epoki zarzucają przecie jego nie-dbałość o etykietę, tak iż — powiada Saint-Simon — był to król bardzo niskiej rangi w porównaniu z Filipem Walezym<sup>628</sup>, z Karolem V<sup>629</sup> itd.) każe układać szczegółowe instrukcje, iżby książęta krwi i ambasadorowie wiedzieli, którym panującym mają dawać krok przed sobą. W pewnych wypadkach, wobec niemożności uzgodnienia, ceremoniał woli uznać, że syn Ludwika XIV, *Monseigneur*, przyjmie jakiegoś zagranicznego królika tylko poza domem, w szczerym polu, aby nie było powiedziane, że wchodząc do pałacu, jeden miał krok przed drugim; a elektor Palatynatu, przyjmując księcia de Chevreuse na obiedzie, udaje — aby mu nie dać kroku przed sobą — że jest chory, i je z nim, ale leżąc, co przecina trudności. Kiedy *Monsieur le Duc*<sup>630</sup> unika sposobności obsłużenia *Monsieur*<sup>631</sup>, ten, za radą króla — swego brata, który go zresztą serdecznie kocha — znajduje jakiś pretekst, aby kazać kuzynowi zjawić się u niego podczas wstawania i zmusza go tym do podania mu koszuli. Ale z chwilą gdy chodzi o głębokie uczucie, o względy serca, wówczas powinność — tak nieugięta, dopóki chodziło o formę grzeczności — zmienia się całkowicie. W kilka godzin po śmierci brata, jednego z ludzi, których król najbardziej kochał, kiedy *Monsieur*, wedle wyrażenia księcia de Montfort, jest jeszcze ciepły, Ludwik XIV śpiewa aryjki z opery, dziwi się, że księżna burgundzka, która z trudem ukrywa boleść, ma taką smutną minę, i chcąc, by wesołość wróciła natychmiast, każe księciu burgundzkiemu rozpocząć partię brełana<sup>632</sup>, iżby dworacy siedli do gry. Otóż nie tylko w światowych i celowych postępach pana de Guermentes, ale w jego najbardziej odruchowych słowach, zajęciach, zabawach spotykało się ten sam kontrast. Guermentowie nie odczuwali zmartwień bardziej niż inni śmiertelnicy, można nawet powiedzieć, że ich istotna wrażliwość była mniejsza; ale za to czytało się co dzień ich nazwisko w światowej kronice „*Gaulois*”<sup>633</sup>, z okazji niesłychanej mnogości pogrzebów, na których mieliby sobie za grzech nie zapisać się na liście. Jak podróżnik odnajduje domy kryte ziemią, tarasy, prawie takie same jak te, które mogli znać Ksenofont<sup>634</sup> lub święty Paweł, tak samo w obejściu pana de Guermentes, człowieka wzruszającego uprzejmością i oburzającego twardością, niewolnika najdrobniejszych obowiązków i zwalniającego się od najświętszych paktów, odnajdowałem — jeszcze nietkniętą po upływie przeszło dwóch wieków — ową deformację właściwą życiu dworu za Ludwika XIV, która przesuwając skrupuły sumienia z dziedziny uczuć i moralności w sferę czysto formalną.

Druga racja uprzejmości, jaką mi okazała księżna Parmy, była bardziej specjalna. Dama ta była przekonana z góry, że wszystko, co widzi u księżnej de Guermentes, w zakresie rzeczy i ludzi, wyższe jest od tego, co ona ma u siebie. Co prawda, wobec wszystkich innych osób zachowywała się podobnie; przy najzwyklejszej potrawie, przy najpospolitszych kwiatach, nie poprzestawała na zachwycie, prosiła o pozwolenie przysłania nazajutrz po przepis lub sprawdzenia na miejscu przez kucharza lub naczelnego ogrodnika; a ten kucharz lub ogrodnik to były figury pobierające grube pensje, mające swój powóz, a zwłaszcza swoje zawodowe ambicje, i wielce upokorzone, kiedy im przychodziło informować się o banalny przysmak lub kopiować odmianę goździków ani w połowie tak piękną, tak pstro nastrojoną, tak imponującą rozmiarami, jak egzemplarze dawno osiągnięte w ogrodach księżnej. Ale jeżeli owe zachwyty księżnej Parmy wszystkim u wszystkich, owo jej zdumienie wobec najdrobniejszych rzeczy, były sztuczne i miały dowieść, że księżna z przewag swego stanowiska i swoich bogactw nie czerpie pychy zabronionej jej przez dawnych preceptorów<sup>635</sup>, ukrywanej przez jej matkę i nieznośnej

<sup>628</sup> Filip VI Walezjusz (1293–1350) — pierwszy król Francji z dynastii Walezjuszów (od 1328). [przypis edytorski]

<sup>629</sup> Karol V Mądry (1338–1380) — król Francji (od 1364) z dynastii Walezjuszów. [przypis edytorski]

<sup>630</sup> *Monsieur le Duc* (fr.) — pan książę; używany na dworze królewskim tytuł męża nieślubnej córki Ludwika XIV, księcia Ludwika III de Bourbon-Condé (1668–1710), później także jego najstarszego syna, Ludwika IV Henryka de Bourbon-Condé (1692–1740). [przypis edytorski]

<sup>631</sup> *Monsieur* (fr.) — pan; tu jako tytuł używany na określenie Filipa I Orleańskiego (1640–1701), brata francuskiego króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>632</sup> *brełan* — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XVII–XIX w. [przypis edytorski]

<sup>633</sup> „*Les Gaulois*” — francuski dziennik literacki i polityczny, zał. w 1868, publikowany do 1929, kiedy został połączony z „*Le Figaro*”. [przypis edytorski]

<sup>634</sup> *Ksenofont z Aten* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

<sup>635</sup> *preceptor* (z łac.) — nauczyciel, wychowawca. [przypis edytorski]

Bogu, w zamian za to salon pani de Guermantes uważała księżna Parmy najszczerzej za miejsce wybrane, wróżące jej bezustanne niespodzianki i rozkosze. Na ogół (co jednak nie wystarczyłoby do wytłumaczenia tego stanu ducha) Guermantowie byli dość różni od reszty arystokratycznego towarzystwa, byli cenniejsi, rzadsi. Z pierwszego wejrzenia sprawili na mnie wrażenie przeciwne, wydali mi się pospolici, podobni do wszystkich mężczyzn i do wszystkich kobiet, ale to dlatego, że uprzednio widziałem w nich — jak w Balbec, jak we Florencji, w Parmie — nazwisko. Oczywiście w tym saloni, wszystkie damy, któremu sobie wyobrażał jako statuetki z saskiej porcelany, podobne były bądź co bądź raczej do większości kobiet. Ale tak samo jak Balbec i Florencja, tak i Guermantowie, rozczarowawszy wyobraźnię, bo byli podobniejsi do równych sobie niż do swego nazwiska, mogli później, mimo iż w mniejszym stopniu, uderzyć pewnymi odrębnościami. Ich strona fizyczna, różowy koloryt cery dochodzący niekiedy fioletu, specjalny, jak gdyby świecący kolor blond ich delikatnych włosów, nawet u mężczyzn układających się w złociste i miękkie pukle, mające coś z mchu i coś z sierści kota (blaskowi temu odpowiadała błyskotliwość inteligencji, o ile bowiem mówiło się „cera i włosy Guermantów”, mówiło się także „dowcip Guermantów”, jak niegdyś Mortemartów<sup>636</sup> — pewna szczególnie delikatna właściwość towarzyska sprzed Ludwika XIV — i tym bardziej uznana przez wszystkich, iż głosili ją oni sami), wszystko to sprawiało, że w samej choćby najszacowniejszej materii arystokratycznego świata, gdzie się odnajdywało tu i ówdzie Guermantów, można ich było rozróżnić, można ich było poznać i śledzić, jak owe jasne żyłki biegnące w jaspisie i onyksie<sup>637</sup>, lub raczej jak miękkie falowanie jasnych kędziarów, których mierzwiłone kosmyki biegną na kształt gibkich promieni w łonie mszystego agatu.

Guermantowie — przynajmniej ci, co byli godni tego nazwiska — posiadali nie tylko wyborną jakość ciała, włosów, przezroczystego spojrzenia, ale mieli sposób trzymania się, chodzenia, kłaniania się, spoglądania przed podaniem ręki, sposób ściskania dłoni — równie odmienni w tym wszystkim od jakiegokolwiek „człowieka z towarzystwa” jak ten od wieśniaka w siermiedze. I mimo ich uprzejmości myślało się: czy oni w istocie — mimo że to kryją — nie mają prawa, widząc nas, jak chodzimy, jak się kłaniamy, wychodzimy, jak robimy wszystkie te rzeczy, które, wykonywane przez nich, stają się pełne wdzięku niby lot jaskółki lub pochylenie się róży — czy oni nie mają prawa myśleć: „To są ludzie innej rasy niż my, a my jesteśmy królowie ziemi”. Zrozumiałem później, że Guermantowie uważali mnie w istocie za człowieka z innej rasy, ale z rasy, która budziła ich zazdrość, bo posiadałem wartości, których nie byłem świadom, a które oni mienili czymś jedynie ważnym. Jeszcze później uczulem, że to ich wyznanie wiary jest tylko na wpół szczere i że wzgarda lub zdziwienie istnieją w nich równocześnie z podziwem i zazdrością. Wrodzona Guermantom fizyczna gibkość była podwójna: dzięki jednej — wciąż i w każdej chwili, kiedy na przykład któryś z nich składał ukłon przed damą — Guermantes komponował własną sylwetę, stworzoną z chwiejnej równowagi asymetrycznych i cudownie zharmonizowanych ruchów, z jedną nogą powłóczącą trochę, bądź umyślnie, bądź dlatego że, często łamana na polowaniu, dociągając się do drugiej nogi, dawała torsowi skrzywienie, zrównoważone podniesieniem ramienia, podczas gdy monokl tkwił w oku, podnosząc brwi, w chwili gdy czub zniżał się dla ukłonu; druga gibkość — niby kształt fali, wiatru lub prądu, jaki zachowuje na zawsze muszla lub statek — wystylizowała się poniekąd w rodzaj stężalego ruchu, zakrzywiając orli nos, który, pod wypukłymi niebieskimi oczami, nad zbyt cienkimi wargami, skąd wychodził u kobiet chrapliwy głos, przypominał (głoszone w XVI wieku przez gorliwość pieczeniarczy i hellenizujących heraldyków) bajeczne początki tej rasy, dawnej niewątpliwie, ale nie tak, jak oni utrzymywali, dając jej za początek mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka<sup>638</sup>.

Guermantowie byli nie mniej specjali pod względem intelektualnym niż pod fizycznym. Z wyjątkiem księcia Gilberta (zacfanego małżonka Marii Bawarskiej, który sadzał

<sup>636</sup>*Mortemart* — francuska rodzina znana z *esprit des Mortemart*, szczególnego rodzaju błyskotliwego humoru, uważanego za dziedziczny. [przypis edytorski]

<sup>637</sup>*jaspis i onyks* — skały z wstęgopatymi pasmami, cenione jako materiał jubilerski. [przypis edytorski]

<sup>638</sup>*mitologiczne zapłodnienie nimfy przez boskiego Ptaka* — odniesienie do greckiego mitu o Ledzie, królowej Sparty, uwiedzionej przez Zeusa, który przybrał postać ląbedzia; z ich związku zrodziła się piękna Helena, małżonka Menelaosa, oraz dwaj synowie, Kastor i Polluks. [przypis edytorski]



zonę po lewej ręce, kiedy jechali na spacer, bo mimo iż z krwi królewskiej, była gorzej urodzona od niego; ale on stanowił wyjątek i — poza oczy — stawał się przedmiotem drwin rodziny i wciąż świeżych anegdot) Guermantowie, żyjąc w najczystszej „śmietance” arystokracji, udawali, że nie przypisują szlachectwu najmniejszej wagi. Poglądy księżnej Oriany (która, prawdę mówiąc, była tak bardzo Guermantes, że stawała się poniekąd czymś innym i miłszym) tak dalece stawiały ponad wszystko inteligencję i były w sferze polityki tak socjalistyczne, że można było zapytać, gdzie się kryje w jej pałacu geniusz, mający za zadanie strzec form arystokratycznego życia — geniusz, który, zawsze niewidzialny, ale najoczywiściej przycupnięty to w przedpokoju, to w salonie, to w gotowalni, przypominał służącym tej kobiety niewierzącej w tytuły, aby ją nazywali „księżną panią”, tak jak jej samej, lubiącej tylko lekturę i niedbającej o ludzkie względy, przypominał, aby z uderzeniem ósmej jechała na obiad do bratowej i aby się odpowiednio wydekoltowała w tym celu.

Ten sam geniusz rodu narzucał pani de Guermantes tryb życia wielkich dam (przynajmniej największych i jak ona wielomilionowych), nudne herbaty, obiady proszone, rauty w miejsce owych godzin, kiedy mogłaby czytać rzeczy interesujące! To były przykre konieczności, podobnie jak deszcz, i pani de Guermantes poddawała się im, chłoszcząc je swoją buntowniczą werwą, ale nie dociekając przyczyn swojej rezygnacji. Ten szczególny traf, że marszałek dworu pani de Guermantes zawsze mówił „księżna pani” do kobiety wierzącej tylko w inteligencję, nie zdawał się jej razić. Nigdy nie przyszło jej na myśl poprosić go, aby mówił po prostu „pani”. Posuwając dobrą wolę do ostatnich granic, można by przypuścić, że ona w swoim roztargnieniu słyszała tylko „pani” i że owo wzmocnienie tego słowa nie dochodziło jej świadomości. Ale o ile mogła być na tym punkcie głucha, nie była niema. Otóż za każdym razem, kiedy miała jakieś zlecenie do męża, mówiła kamerdynerowi: „Proszę przypomnieć księciu panu...”

Geniusz rodu miał zresztą inne zatrudnienia, na przykład kazać mówić o moralności. Z pewnością byli Guermantowie specjalnie inteligentni i Guermantowie specjalnie moralni — i zazwyczaj nie byli to jedni i ci sami. (Był nawet jeden Guermantes, który fałszował weksle i oszukiwał w karty, i ten był najmiłszy ze wszystkich, dostępny wszelkiej nowej i sprawiedliwej myśli). Ale owi pierwsi rozprawiali o moralności jeszcze lepiej od owych drugich i w ten sam sposób jak pani de Villeparisis w chwilach, gdy geniusz rodu wyrażał się przez usta starej damy. W identycznych momentach widziało się nagle Guermantów przybierających ton niemal równie stareńki, równie pocziwy — a z przyczyny ich większego uroku bardziej wzruszający od tonu margrabiny — kiedy mówili o pokojówce: „Czuje się, że ona ma dobry grunt; ta dziewczyna nie ma nic pospolitego, musi być córką zacnych rodziców, z pewnością szła w życiu zawsze prostą drogą”. W tych momentach geniusz rodu mieścił się w intonacji. Ale czasem krył się we wzięciu, w wyrazie twarzy, tak samo u księżnej Oriany, jak u jej dziadka marszałka, w jakimś nieuchwytnym skurczu (podobnym do skurczu Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barka<sup>639</sup>), wskutek czego niejedną raz dostawałem bicia serca w czasie swoich rannych spacerów, kiedy zanim poznałem panią de Guermantes, uczułem, że ona patrzy na mnie z głębi małej mleczarni. Ten geniusz wmieszał się w okoliczność zgoła nieobojętną nie tylko dla Guermantów, ale dla Courvoisierów, drugiej części rodu, równej Guermantom krwią, ale stanowiącej ich przeciwieństwo. (Guermantowie tłumaczyli nawet babką Courvoisier zaciekłość księcia Gilberta na punkcie szlachectwa i urodzenia jako jedynej ważnej rzeczy w świecie). Nie tylko Courvoisierowie nie przyznawali inteligencji tyle miejsca co Guermantowie, ale nawet mieli o niej wręcz inne pojęcie. Dla Guermanta (choćby był głupi) być inteligentnym to znaczyło mieć ostry język, umieć mówić złośliwości, znajdować pod ręką argumenty; to znaczyło także móc rozprawić równie dobrze o malarstwie, o muzyce, o architekturze, mówić po angielsku. Courvoisierowie tworzyli sobie o inteligencji mniej pochlebne pojęcie; i o ile ktoś nie należał do ich świata, „być inteligentnym” było pojęciem niedalekim od „być zdolnym zamordować ojca i matkę”.

<sup>639</sup> Węża, kartagińskiego geniusza rodziny Barca — Hannibalowi z rodu Barkidów, wielkiemu kartagińskiemu wodzowi z czasów wojen z Rzymianami, ukazał się we śnie boski młodzieniec, który miał go prowadzić do Italii, a za nim olbrzymi wąż, niszczący wszystko na swojej drodze; wąż ten miał oznaczać samego Hannibala (Liwiusz, *Dzieje Rzymu*, XXI, 22); w powieści Flauberta *Salambô* (1862) wąż jest godłem rodu Barka. [przypis edytorski]

Dla nich inteligencja była rodzajem łomu, dzięki któremu ludzie niewiodący się od Adama i Ewy włamywali się do najwybrańszych salonów; wiedzano u Courvoisierów, że się zawsze wpada w końcu, przyjmując tego rodzaju „figury”. Najobojętniejsze twierdzenia ludzi inteligentnych, a nienależących do „towarzystwa” przyjmowali Courvoisierowie z systematyczną nieufnością. Kiedy ktoś powiedział raz: „Swann jest przecież młodszy od Palamedy”. — „Przynajmniej on tak powiada, a skoro on tak powiada, bądźcie pewni, że ma w tym jakiś interes” — odpowiedziała pani de Gallardon. Co więcej, kiedy mówiono o dwóch bardzo eleganckich cudzoziemkach, które Guermantowie przyjmowali, i że posadzono jedną wyżej, bo była starsza: „Ale czy ona jest bodaj starsza?” — spytała pani de Gallardon; nie jak gdyby ten rodzaj osób nie miał w ogóle wieku, ale jak gdyby te panie, pozbawione prawdopodobnie stanu cywilnego, religii, tradycji, były czymś w rodzaju małych kotek z tego samego miotu, między którymi sam chyba weterynarz mógłby się wyznaczyć. Courvoisierowie utrzymywali zresztą (lepiej od Guermantów) w pewnym sensie czystość szlachectwa, zarówno dzięki ciasności umysłu, jak oschłości serca. Podobnie Guermantowie (dla których, poniżej rodzin królewskich i paru innych, jak Ligne, La Trémoille itd., wszystko inne mieszało się na kształt drobnego narybku) byli impertynency z ludźmi starego rodu mieszkającymi w sąsiedztwie Guermantes, właśnie dlatego, że nie zwracali uwagi na te drugorzędne wartości, tak bardzo zaprzatające Courvoisierów; brak tych wartości miał dla nich niewielkie znaczenie. Niektóre kobiety, nieposiadające zbyt wysokiego kursu w swoich stronach, ale świetnie wydane za mąż, bogate, ładne, ulubienice największego świata, były dla Paryża, który jest mało świadomy, „kto zasz i kto cię rodzi”, wybornym i eleganckim artykułem importu. Mogło się zdarzyć, choć rzadko, że takie kobiety dostawały się, przez księżnę Parmy lub siłą własnych uroków, do salonu niektórych Guermantów. Ale nigdy nie udało się im ułagodzić oburzenia Courvoisierów. Spotkać na „fajfie”<sup>640</sup> u kuzynki osoby, z których krewnymi ich krewni nie lubili stykać się kędyś w le Perche<sup>641</sup>, stawało się dla nich motywem rosnącej wściekłości, tematem niewyczerpanych rozpraw. Z chwilą na przykład, gdy urocza hrabina G... wchodziła do Guermantów, twarz pani de Villebon przybierała ściśle taki wyraz, jaki musiałaby przybrać, gdyby miała zadeklamować ów wiersz:

A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę.<sup>642</sup>

wiersz, którego zresztą nie znała. Ta Courvoisier spożywała prawie co poniedziałek ciastko z kremem o kilka kroków od hrabiny G..., ale bez skutku. I pani de Villebon wyznawała w cichości, że nie może pojąć, jak jej kuzynka Oriana może przyjmować kobietę, która w Châteaudun nie należy nawet do drugiego towarzystwa. „Doprawdy, ta Oriana, niby tak wybredna na punkcie stosunków, ona chyba kpi sobie ze świata” — konkludowała pani de Villebon z innym wyrazem twarzy, tym razem uśmiechniętym i drwiącym w swej rozpacz, i w który, bawiąc się w zagadki, można by wpisać raczej inny wiersz, również, oczywiście, nieznaną hrabinie:

Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje.<sup>643</sup>

Upředźmy zresztą wypadki, powiadając, że wytrwałość, z jaką pani de Villebon tępiła panią G..., nie była zupełnie bezużyteczna. W oczach pani G... dała ona pani de Villebon taki blask — zresztą czysto urojony — że kiedy córka pani G..., najładniejsza i najbogatsza z dziewcząt pojawiających się na balach, była panną na wydaniu, dziwiono się, widząc, jak odrzuca wszystkich książąt i diuków. Bo jej matka, pamiętając cotygodniowe awanse, jakie znosiła przy ulicy de Grenelle przez wspomnienie Châteaudun, pragnęła szczerze dla córki tylko jednego męża: młodego Villebon.

<sup>640</sup>*fiff* (daw., z ang. *five o'clock*: godzina piąta) — popołudniowe spotkanie towarzyskie, połączone z piciem herbaty. [przypis edytorski]

<sup>641</sup>*le Perche* (fr.) — dawna prowincja w pn. Francji, znana ze swoich lasów. [przypis edytorski]

<sup>642</sup>*A gdy zostanie jeden, ja tym jednym będę* — ostatni wers wiersza Wiktora Hugo *Ultima verba*, napisanego, kiedy autor po zamachu stanu Napoleona III i utworzeniu Drugiego Cesarstwa udał się na wygnanie. [przypis edytorski]

<sup>643</sup>*Nieszczęście własne moje przewyższa nadzieje* — Racine, *Andromacha*, akt V, scena 5. [przypis edytorski]

Jedyny punkt, w którym typ Guermantes i typ Courvoisier spotykały się, polegał na sztuce — nieskończenie urozmaiconej zresztą — markowania dystansów. Wzięcie Guermantów nie było całkowicie wspólne wszystkim. Ale na przykład wszyscy Guermantowie — ci, co nimi byli naprawdę — kiedy cię im przedstawiano, dopełniali pewnego ceremoniału; fakt, że ci podają rękę, zdawał się równie ważny, co gdyby chodziło o pasowanie cię na rycerza. W chwili gdy jakiś Guermantes, choćby miał tylko dwadzieścia lat, ale już kroczący w ślady starszych, usłyszał twoje nazwisko, wpijał w ciebie — tak jakby wcale nie miał zamiaru przywitać się z tobą — spojrzenie przeważnie błękitne, zawsze zimne jak stal, jak gdyby się gotował zatopić je w najgłębsze zakątki twego serca. Guermantom wydawało się zresztą, że w istocie to robią: wszyscy uważali się za pierwszorzędnych psychologów. Co więcej, sądzili, że taka inspekcja zwiększa uprzejmość mającego nastąpić ukłonu, którego chcieli wam użyć jedynie z pełną świadomością. Wszystko to działo się na dystans, który, nieznaczny, gdyby chodziło o skrzyżowanie broni, zdawał się olbrzymi dla uścisku ręki, mroził cię tak, jakby szło w istocie o pojedynek. Tak iż kiedy jakiś Guermantes, po szybkiej rewizji dokonanej w ostatnich zaułkach twojej duszy i twoich kwalifikacji, uznał cię odtąd godnym swojej znajomości, ręka jego, zwrócona do ciebie na końcu wyciągniętego w całej długości ramienia, robiła wrażenie, że ci podaje floret dla spotkania wręcz; i w rezultacie ręka ta znajdowała się w tej chwili tak daleko od Guermanta, że kiedy równocześnie schylał głowę, trudno było zgadnąć, czy on się kłania tobie, czy własnej ręce. Niektórzy Guermantowie, wyzuci z poczucia miary lub niezdolni nie powtarzać się ustawicznie, przesadzali, wznawiając tę ceremonię za każdym razem, kiedy cię spotkali. Wobec tego, że już nie potrzebowali podejmować uprzedniej ankiety psychologicznej, do której wydelegował ich „geniusz rodu”, a której rezultaty musieli pamiętać, natarczywość badawczego spojrzenia przed uściskiem dłoni można było tłumaczyć jedynie nabytym automatyzmem lub wiarą ich we własny dar jakiejś fascynacji.

Courvoisierowie, posiadający odmienne warunki fizyczne, daremnie silili się przyswoić sobie ten badawczy ukłon; trzeba im było poprzestać na wyniosłej sztywności lub na lekceważącym pospiechu. W zamian za to, zdawałoby się, iż niektóre rzadkie egzemplarze żeńskie Guermantów przejęły od Courvoisierów ukłon damski. W chwili gdy cię przedstawiano jednej z tych Guermantek, darzyła cię głębokim ukłonem, w którym zbliżała do ciebie głowę i biust mniej więcej pod kątem czterdziestu pięciu stopni, gdy dół ciała (bardzo u nich długi), aż do pasa tworzącego oś, pozostawał nieruchomy. Ale zaledwie pochylila tak ku tobie górę swojej osoby, natychmiast odrzucała ją wstecz od pionu nagłym cofnięciem jej na równą mniej więcej odległość. Ten wtórny rzut neutralizował to, co ci na pozór przyznano; nie tylko nie zdobyłeś terenu, ale nawet nie zyskałeś go w sensie pojedynekowym: wracało się do pierwotnych pozycji. To samo zamilowanie uprzejmości przez odzyskanie dystansu (wynalazek Courvoisierów, mający dowiedzieć, że awanse uczynione w pierwszym odruchu były jedynie chwilową fintą) objawiało się równie jasno — tak u Courvoisierów, jak u Guermantów — w listach, jakie się od nich otrzymywało, przynajmniej w pierwszych czasach znajomości. „Korpus” listu mógł zawierać zdania, które napisałoby się chyba tylko do przyjaciela; ale na próżno łudziłbyś się, że jesteś przyjacielem owej damy; list zaczynał się od „Łaskawy panie”, a kończył się na „Niech pan raczy przyjąć wyrazy szacunku”. Z tą chwilą, między tym zimnym początkiem a lodowatym końcem, które zmieniały sens całej reszty, mogły się cisnąć (jeśli to była odpowiedź na twoje kondolencje) najbardziej wzruszające obrazy smutku, w jakim pograżyła Guermantkę strata siostry, obrazy istniejącej między nimi zażyłości, uroków okolicy, gdzie spędzała lato, pociechy, jaką znajdowała we wdzięku swoich wnucząt — wszystko to był już tylko list taki, jaki się spotyka w listownikach, a poufny jego charakter stwarzał między tobą a twoją korespondentką nie większą zażyłość, niż gdyby to był Pliniusz Młodszy<sup>644</sup> lub pani de Simiane<sup>645</sup>.

Prawda, że niektóre Guermantki pisały do ciebie od pierwszego razu „Mój drogi panie”, „Drogi przyjacielu”; nie były to konieczne najnaturalniejsze spośród nich, ale raczej te, które, żyjąc jedynie w świecie koronowanych głów, a z drugiej strony będąc „lekkie”,

<sup>644</sup>Pliniusz Młodszy (ok. 61–ok. 113) — rzymski mówca i pisarz, znany ze swoich licznych listów (*Epistulae*). [przypis edytorski]

<sup>645</sup>Simiane, Pauline de (1674–1737) — wnuczka pani de Sévigné, odegrała ważną rolę w redagowaniu korespondencji swojej babki. [przypis edytorski]

czerpały w swojej dumie pewność, że wszystko, co pochodzi od nich, sprawia przyjemność, tak jak znów w swoim zepsuciu czerpały nawyk nieskądienia żadnej przyjemności, jakiej mogą użyć. Zresztą, ponieważ wspólna praszczurka<sup>646</sup> za Ludwika XIII<sup>647</sup> wystarczała, aby młody Guermantes, mówiąc o margrabinie de Guermantes, nazywał ją „ciotka Adamowa”, Guermantowie byli tak liczni, że nawet w tych prostych obrzędach — w ukłonie przy prezentacji na przykład — istniało wiele odmian. Każda nieco wybrańsza grupka miała swój ukłon, który przekazywało się z rodziców na dzieci, niby receptę na maść lub na konfitury. Tak widzieliśmy, że uścisk dłoni Roberta de Saint-Loup rozpoczynał się jakby mimo woli, w chwili gdy usłyszał twoje nazwisko, bez udziału spojrzenia, bez towarzyszącego mu ukłonu. Nieszczęśliwy plebejusz, którego z jakiejś specjalnej racji — co zdarzało się zresztą dość rzadko — przedstawiono komuś z grupki Saint-Loup, łamał sobie głowę wobec tego, tak gwałtownego minimum przywitania, chętnie przybierającego pozór automatyzmu, dociekając, co jakiś Guermantes lub Guermantka mogą mieć przeciwko niemu. I bardzo był zdziwiony, dowiadując się, że on lub ona pokwapili się napisać specjalnie do tego, kto im cię przedstawił, aby wyrazić, jak bardzo się im podobał i że mają nadzieję ujrzeć cię znów niebawem. Równie specjalny charakter, jak mechaniczny gest Roberta de Saint-Loup, miały skomplikowane i szybkie podrygi margrabiego de Fierbois (z których dworował sobie pan de Charlus) lub poważne i odmierzone kroki księcia Gilberta. Ale niepodobna tu opisać choreografii Guermantów w całym jej bogactwie, dla samej mnogości tego *corps de ballet*<sup>648</sup>.

Aby wrócić do antypatii Courvoisierów do księżnej Oriany, powiedzmy, iż Courvoisierowie mogli znaleźć pociechę w ubolewaniu nad nią, dopóki była panną, bo była wówczas niebogata. Na nieszczęście, zawsze jakies jak gdyby sadzowate i specyficzne opary skrywały i przesłaniały oczom bogactwo Courvoisierów, które choćby było najznaczniesze, pozostawało w cieniu. Choćby bardzo bogata Courvoisierka wyszła najbogaciej za mąż, zawsze zdarzało się, że młode małżeństwo nie miało w Paryżu własnego mieszkania, „stawało” u teściów, a przez resztę roku żyło na prowincji w towarzystwie bez skazy, ale i bez blasku. Podczas gdy Saint-Loup, mający już prawie same długi, olśniewał Doncières swymi zaprzęgami, w tym samym mieście bardzo bogaty Courvoisier jeździł tylko tramwajem. Na odwrót (zresztą wiele lat przedtem), panna de Guermantes (Oriana), mająca bardzo niewiele, więcej zadawała szyku swoimi toaletami niż wszystkie Courvoisierki razem. Nawet skandale jej różnych powiedzeń były rodzajem reklamy dla jej sposobu ubierania się i czesania. Ośmieliła się powiedzieć do wielkiego księcia rosyjskiego: „I co, wasza wysokość, podobno wy chcecie zakażać zamordować Tolstoja?”, a powiedziała to na obiedzie, na który nie zaproszono Courvoisierów, zresztą mało biegłych w Tolstoju. Nie o wiele byli bieglijsi w autorach greckich, o ile sądzić po starej diuszecie de Gallardon (teściowej księżnej de Gallardon, wówczas jeszcze panny), która, w ciągu pięciu lat nie zaszczycona ani jedną wizytą Oriany, odpowiedziała komuś, kto jej pytał o przyczynę tego bojkotu: „Zdaje się, że ona recytuje Arystotelesa (chciała powiedzieć Arystofanesa<sup>649</sup>) w salonie. Ja tego u siebie nie toleruję!”

Można sobie wyobrazić, jak bardzo ten „wyskok” panny de Guermantes na temat Tolstoja, o ile oburzał Courvoisierów, zachwycał Guermantów, a poprzez nich wszystko, co było z nimi bliżej lub dalej związane. Starsza hrabina d’Argencourt, z domu Seineport (która przyjmowała po trosze wszystkich, bo była sawantką, mimo że jej syn był straszliwy snob), powtarzała to powiedzenie w obecności literatów, mówiąc: „Oriana de Guermantes, hoho! sprytna, złośliwa jak małpka, utalentowana do wszystkiego, maluje akwarele godne wielkiego malarza, a pisze wiersze mogące rywalizować z wielkimi poetami; a wiecie państwo, jako rodzina to jest, co tylko może być najlepszego: jej babka była Montpensier, a ona jest osiemnąstą Orianą de Guermantes bez jednego mezaliansu;

<sup>646</sup>praszczurka (neol.) — żyjąca w dawnych czasach kobieta, od której pochodzi jakaś osoba; żeński odpowiednik pojęcia *praszczur*. [przypis edytorski]

<sup>647</sup>Ludwik XIII (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

<sup>648</sup>*corps de ballet* (fr.) — zespół tancerek i tancerzy danego baletu lub teatru, z wyjątkiem solistów, występujący na scenie jako jedna grupa. [przypis edytorski]

<sup>649</sup>Arystofanes (ok. 445–ok. 385 p.n.e.) — grecki komediopisarz, najwybitniejszy z twórców komedii starożytnej. [przypis edytorski]

to najczystsza, najstarsza krew Francji”. Toteż ci quasi-literaci, półintelektualiści, jakich przyjmowała pani d’Argencourt, wyobrażali sobie Oriane de Guermantes, której nigdy nie mieliby sposobności poznać osobiście, jako coś cudowniejszego i niezwyklejszego od księżniczki Badrul Budur<sup>650</sup>; i nie tylko byliby gotowi umrzeć dla niej, dowiadując się, że osoba tak szlachetnie urodzona wielbi ponad wszystko Tolstoja, ale czuli wręcz, iż czerpią w jej duchu nową siłę, swoją własną miłość do Tolstoja, żądę opierania się caratowi. Te liberalne poglądy mogłyby w nich zwiędnąć, mogłyby zwątpić o ich uroku, nie śmiejąc ich już wyznawać, kiedy nagle sama panna de Guermantes, to znaczy osoba tak bezspornie wartościowa i miarodajna, nosząca włosy płasko nad czołem (na co nigdy nie zdobyłaby się żadna Courvoisier), przybywała im z odsieczą! Różnym (dobrym lub złym) sprawom zdarza się w ten sposób bardzo zyskać na sukursie osób cieszących się powagą w naszych oczach. Na przykład u Courvoisierów formy uprzejmości na ulicy składały się z pewnego ukłonu, bardzo brzydkiego i raczej nieuprzejmego; ale wiadano, że to jest dystyngowany sposób powitania, tak że wszyscy silili się naśladować tę martwą gimnastykę z wykluczeniem uśmiechu i wszelkiego przyjaznego gestu. Ale Guermantowie w ogóle, a w szczególności Oriana, mimo iż lepiej od kogokolwiek znając ten ceremonial, nie wahali się, spostrzegłszy cię z powozu, pozdrowić cię przyjaźnie ręką; w salonie zaś, zostawiając Courvoisierom ich sztywne i sztuczne ukłony, improwizowali czarujące reweranse, wyciągali do ciebie rękę jak do kolegi, uśmiechając się swymi błękitnymi oczami, tak że nagle dzięki Guermantom w istotę „szyku”, dotąd nieco pustą i suchą, wchodziło wszystko to, co by człowiek z natury lubił, a co silono się wygnać: życzliwość, wylanie<sup>651</sup>, szczerą uprzejmość, swoboda. W ten sam sposób, ale w drodze rehabilitacji, tym razem mniej usprawiedliwionej, osoby mające wrodzony pociąg do złej muzyki i do melodii, bodaj najbanalniejszych, ale słodkich i łatwych, dochodzą dzięki kulturze muzycznej do tego, aby zdławić w sobie ten gust. Ale skoro raz to osiągnęli, naraz, słusznie zachwyceni olśniewającą instrumentacją Ryszarda Straussa<sup>652</sup>, widzą, że ten muzyk, z pobłażaniem godnym jakiegoś Auber<sup>653</sup>, korzysta z najpospolitszych motywów; i to, co sami z dawna lubili, znajduje nagle w dostojnym autorytecie szczęśliwe usprawiedliwienie, tak iż obecnie, słuchając *Salome*, bez skrupułu i z podwójną wdzięcznością, zachwycają się tym, co im było wzbronione lubić w *Diamencie korony*.

Rozmówka panny de Guermantes z wielkim księciem, autentyczna czy nie, obnoszona od domu do domu, dawała sposobność sławienia „szyku”, jaki Oriana roztoczyła na tym obiedzie. Ale o ile zbytek (co właśnie czyniło go niedostępnym dla Courvoisierów) rodzi się nie z bogactwa, lecz z rozrzutności, niewątpliwie rozrzutność może trwać dłużej, jeżeli ją wspiera bogactwo, pozwalające jej wówczas lśnić wszystkimi ogniami. Otóż przyjąwszy zasady głoszone jawnie nie tylko przez Oriane, ale przez panią de Villeparisis, że urodzenie nie znaczy nic, że tytuły są śmieszne, że majątek nie daje szczęścia, że jedynie inteligencja, serce, talent są czymś istotnym, Courvoisierowie mogli przypuszczać, że na zasadzie wychowania margrabin, Oriana zaślubi kogoś spoza „świata”, artystę, kryminalistę, włóczęgę, wolnomyśliciela, że się osunie bezapelacyjnie w kategorię tych, których Courvoisierowie nazywali „wykolejeńcami”. Mogli się tego spodziewać tym bardziej, ile że pani de Villeparisis, przebywając w tej chwili — ze światowego punktu widzenia — trudny moment (jeszcze nie odzyskała żadnej z nielicznych świetnych osób, które spotykałem u niej), afiszowała głęboki wstręt do towarzystwa, które ją trzymało na pokucie. Nawet kiedy mówiła o swoim bratanku księciu Gilbercie, z którym zachowała stosunki, nie miała dlań dość szyderstw, dlatego że był przejęty swoim urodzeniem. Ale w chwili gdy szło o to, aby znaleźć męża dla Oriany, już nie zasady głoszone przez ciotkę i przez siostrzenicę pokierowały sprawą, ale tajemniczy „geniusz rodu”. Równie niechybnie, co gdyby pani de Villeparisis i Oriana zamiast mówić o wartościach literackich i zaletach ser-

Bogactwo

<sup>650</sup>*Badrul Budur*, właśc. *Badr al-Budur* — postać literacka, księżniczka, która poślubił Aladyn, bohater jednej z opowieści *Księgi tysiąca i jednej nocy*. [przypis edytorski]

<sup>651</sup>*wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerłość, serdeczność. [przypis edytorski]

<sup>652</sup>*Strauss, Richard* (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego; autor m.in. opery *Salome* (1905), według dramatu Oscara Wilde’a. [przypis edytorski]

<sup>653</sup>*Auber, Daniel* (1782–1871) — francuski kompozytor, twórca licznych oper, m.in. *Les diamants de la couronne* (*Diamenty korony*, 1841). [przypis edytorski]

ca rozprawiały wyłącznie o lokatach pieniężnych i o genealogiach, i co gdyby margrabina na przeciąg kilku dni (jak się to miało stać później) leżała w trumnie umarła, w kościele w Combray — gdzie każdy członek rodziny był już tylko Guermantem, wyzutym z osobowości i z imion własnych, o czym świadczyło na wielkich czarnych oponach<sup>654</sup> samotne purpurowe G..., uwieńczone mitrą księżęcą — tym, na którego geniusz rodu skierował wybór intelektualistki, buntownicy, ewangelicznej pani de Villeparisis, był człowiek najbogatszy i najlepiej urodzony, najlepsza partia z całego Faubourg Saint-Germain, starszy syn diuka de Guermantes, książę des Laumes. I przez dwie godziny, w dniu ślubu, pani de Villeparisis miała u siebie wszystkie owe wysoko urodzone osoby, z których sobie drwiła; drwiła z nich sobie nawet z paroma bliskimi osobami „nieurodzonymi”, które zaprosiła i którym książę des Laumes rzucił wówczas karty, zanim „przeciął komunikację” z nimi od następnego roku.

Na domiar nieszczęścia Courvoisierów, maksymy uznające wyłączną supremację inteligencji i talentu odzyskały kurs u księżnej des Laumes natychmiast po ślubie. I pod tym względem, powiedzmy mimochodem, punkt widzenia, którego bronił Saint-Loup, kiedy żył z Rachelą, kiedy bywał u przyjaciół Racheli, kiedy się omal chciał żenić z Rachelą, zawierał — mimo całej zgrozy, jaką budził w rodzinie — mniej kłamstwa niż poglądy panien de Guermantes w ogólności, sławiących inteligencję, niedopuszczających niemal, aby ktoś wątpił o równości ludzi, wówczas gdy wszystko to zmierzało w danym momencie do tego samego rezultatu, co gdyby głosiły wręcz przeciwne maksymy, mianowicie do możliwie arystokratycznego i możliwie najbogatszego małżeństwa. Saint-Loup natomiast działał zgodnie ze swymi zapatrywaniami, wskutek czego mówiono, że jest na złej drodze. Zapewne, z punktu widzenia moralności dużo można było Racheli zarzucić. Ale nie jest dowiedzione, w razie gdyby jakaś osoba była warta nie więcej od niej, ale była księżną lub posiadała dużo milionów — czy pani de Marsantes nie sprzyjałaby takiemu małżeństwu.

Otóż, aby wrócić do pani des Laumes (wkrótce potem diuszesy de Guermantes wskutek śmierci teścia), największym cierpieniem Courvoisierów był fakt, że teorie młodej księżnej, wyładowując się w ten sposób w słowach, nie wpływały w niczym na jej postępowanie; dzięki czemu filozofia ta (jeżeli można ją tak nazwać) w niczym nie szkodziła arystokratycznej elegancji salonu Guermantes. Niewątpliwie wszystkie osoby, których pani de Guermantes nie przyjmowała u siebie, wyobrażały sobie, że dzieje się to dlatego, iż nie są dość inteligentne; niejedna młoda Amerykanka, która nie posiadała żadnej książki poza starym i nigdy nie otwieranym egzemplarzem poezji Parny’ego<sup>655</sup>, leżącym (dlatego że był z „epoki”) na stoliku w jej buduarze, wyrażała swój kult inteligencji żarłocznymi spojrzeniami, jakie wpijała w Oriane de Guermantes, gdy ta zjawiała się w Operze. Bez wątplenia również pani de Guermantes była szczerą, kiedy wyróżniała jakąś osobę dla jej inteligencji. Kiedy mówiła o jakiejś kobiecie: „Zdaje się, że jest »uroczą«,” lub o mężczyźnie, że jest niesłychanie inteligentny, nie sądziła, aby miała inne przyczyny do przyjmowania ich niż ten urok lub inteligencję, ile że geniusz Guermantów nie interweniował w tej minucie; ale ów czujny geniusz, usadowiony głębiej, u tajnych wrót strefy, w której Guermantowie sądzili, nie pozwalał Guermantom uznać mężczyzny za inteligentnego, a kobiety za uroczą, o ile nie mieli obecnych lub przyszłych walorów światowych. Wówczas nazywano mężczyznę uczonym, ale na kształt encyklopedii, lub, przeciwnie, pospolitym, dowcipnym jak komiwojażer; ładna kobieta miała fatalny ton lub była zbyt gadatliwa. Co do ludzi pozbawionych światowej sytuacji — okropność, snoby! Pan de Bréauté, którego zamek sąsiadował z Guermantes, żył z samymi książętami krwi. Ale podrwiwał z nich i marzył jedynie o muzeach. Toteż pani de Guermantes była oburzona, kiedy nazywano pana de Bréauté snobem. „Snob, Babal? Ależ pan oszalał, drogi panie! Wręcz przeciwnie, on nienawidzi ludzi modnych, nie można go zmusić do nowej znajomości. Nawet do mnie, kiedy go zaproszę z kimś nowym, przychodzi tak niechętnie!”

Nie znaczy to, aby nawet w praktyce Guermantowie nie szacowali inteligencji inaczej niż Courvoisierowie. Różnica między Guermantami a Courvoisierami wydawała w prak-

<sup>654</sup>opona (daw.) — zasłona; ozdobna tkanina okrywająca coś. [przypis edytorski]

<sup>655</sup>Parny, *Evariste de* (1753–1814) — francuski poeta epoki oświecenia. [przypis edytorski]

tyce dość piękne owoce. I tak, księżna Oriana, otaczając się zresztą tajemnicą pobudzającą z dala marzenia tylu poetów, wyprawiła ową fetę, o której jużesmy mówili, gdzie król angielski czuł się lepiej niż kiedykolwiek, bo Oriana wpadła na pomysł (czyżby to przyszło do głowy Courvoisierom?) i zdobyła się na odwagę (przed którą byliby się wzdrygnęli wszyscy Courvoisierowie), aby, poza cytowanymi już osobami, zaprosić muzyka Gastona Lemaire<sup>656</sup> oraz autora dramatycznego Grandmougin<sup>657</sup>. Ale intelektualizm jej wyrażał się zwłaszcza negatywnie. O ile wymagany współczynnik inteligencji i wdzięku zniżał się, w miarę jak się wznosiła pozycja osoby pragnącej bywać u księżnej Oriany, zbliżał się zaś do zera, kiedy chodziło o koronowane głowy, w zamian za to im bardziej się schodziło poniżej tego monarszego poziomu, tym bardziej współczynnik się podnosił. Na przykład u księżnej Parmy bywało sporo osób, które jej wysokość przyjmowała dlatego, że je znała dziećmi lub że były spowinowacone z jakąś diuszesa, lub stały blisko jakiegoś panującego, choćby te osoby były poza tym brzydkie lub głupie; otóż, dla jakiegoś Courvoisiera, racja, że ktoś jest „faworytem księżnej Parmy”, „przyrodnią siostrą księżnej d’Arpajon”, że „spędza co rok trzy miesiące u królowej hiszpańskiej”, wystarczyłaby, aby zaprosić takich ludzi; ale pani de Guermantes, która od dziesięciu lat wymieniała grzecznie z tymi osobami ukłon u księżnej Parmy, nigdy nie wpuściła ich za swój próg, uważając, że z salonem w sensie towarzyskim jest tak samo jak w sensie materialnym: wystarczy trochę mebli, których się nie lubi, ale które się zostawia jako zapchanie kątów i dowód zamożności, aby uczynić salon czymś okropnym. Taki salon podobny jest do książki, w której autor nie umiał się wstrzymać od zdań świadczących o wiedzy, o świetności umysłu, łatwości stylu. Jak książka, jak dom, tak i wartość salonu — słusznie myślała pani de Guermantes — ma za kamień węgielny ofiarę.

Wiele przyjaciółek księżnej Parmy, z którymi księżna Oriana ograniczała się od lat do tego samego grzecznego przywitania lub do wymiany biletów, nie zapraszając ich nigdy ani nie chodząc na ich przyjęcia, skarżyło się dyskretnie jej wysokości, która w dni, kiedy pan de Guermantes zachodził do niej sam, natrącała księciu o tym. Ale ten szczywany bywalec, zły mąż w stosunku do księżnej o tyle, że miał kochanki, ale lojalny współnik we wszystkim, co się tyczyło dobrego funkcjonowania jej salonu (a także dowcipu Oriany, będącego głównym tego salonu powabem), odpowiadał: „Ale czy moja żona ją zna? Och, w takim razie tak, powinna była. Ale ja powiem waszej wysokości prawdę: Oriana nie lubi towarzystwa kobiet. Otacza ją elita wyższych duchów; ja — jak mnie wasza wysokość widzi — ja nie jestem jej mężem, jestem tylko jej pierwszym kamerdynerem. Kobiety nudzą ją, z wyjątkiem małej liczby wyjątkowo inteligentnych. No, a wasza wysokość, która ma tyle poczucia tych rzeczy, nie powie mi przecie, aby margrabina de Souvré była inteligentna! Tak, rozumiem, księżna przyjmuje ją przez dobroć. A przy tym księżna ją zna. Powiada księżna, że Oriana ją spotykała; to możliwe, ale bardzo mało, upewniam waszą wysokość. A przy tym, ja powiem księżnej, w tym jest też trochę mojej winy. Moja żona jest bardzo zmęczona, a tak lubi być uprzejma, że gdybym jej tylko pozwolił, nie byłoby końca wizytom. Nie dalej jak wczoraj wieczór miała podwyższoną temperaturę; ale cóż, bała się, że zrobi przykrość księżnej de Bourbon, jeśli do niej nie pójdzie. Musiałem wkroczyć; zabroniłem zaprzęgać. Ot, wie księżna, doprawdy, ja mam ochotę nie mówić nawet Orianie, że księżna wspomniała o pani de Souvré. Oriana tak kocha waszą wysokość, że pobiegnie od razu zaprosić panią de Souvré, to będzie jedna wizyta więcej, to nam ściągnie stosunki z jej siostrą, której męża ja znam bardzo dobrze. Ja myślę, że ja nic nie powiem Orianie, jeżeli wasza wysokość mnie upoważni do tego. W ten sposób oszczędzimy Orianie wiele zmęczenia i wzruszeń. A ja ręczę waszej wysokości, że to nie będzie z krzywdą pani de Souvré. Ona bywa wszędzie, w najświetniejszych domach. A my właściwie wcale nie prowadzimy domu, ot mały obiadek od czasu do czasu, pani de Souvré znudziłyby się śmiertelnie”.

Księżną Parmy — naiwnie przekonaną, że książę de Guermantes nie powtórzy jej prośby żonie, i zbolełą, że nie może uzyskać upragnionego zaproszenia dla pani de Souvré — tym milej poglaskało, że jest jednym z filarów tak zamkniętego salonu. Bez wątpienia, to zadowolenie nie było wolne od trosk. I tak za każdym razem kiedy księżna

<sup>656</sup> *Lemaire, Gaston* (1854–1928) — francuski kompozytor. [przypis edytorski]

<sup>657</sup> *Grandmougin, Charles* (1850–1930) — francuski poeta, dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

Parmy zapraszała Orianę, łamała sobie głowę, aby nie zaprosić nikogo, kto by mógł być nie w smak pani de Guermantes i wystraszyć ją z jej domu.

W zwyczajne dni (po obiedzie, który jadła zawsze w towarzystwie kilku osób, bardzo wcześnie, przestrzegając dawnego obyczaju) salon księżnej Parmy był otwarty dla stałych gości i w ogóle dla całej francuskiej i cudzoziemskiej arystokracji. Przyjęcie odbywało się tak, że opuściwszy jadalnię, księżna siadała na kanapie za dużym okrągłym stołem, rozmawiała z dwiema najznaczniejszymi damami z tych, które były na obiedzie, lub przeglądała jakieś ilustrowane pismo; grała w karty (lub udawała, że gra, obyczajem dworu niemieckiego) bądź kładąc pasjansa, bądź też biorąc za prawdziwego lub rzekomego partnera jakąś wybitną osobistość. Około dziewiątej drzwi do wielkiej sali otwierały się bez przerwy na oścież, zamykały się, otwierały kolejno, aby wpuścić gości, którzy zjedli obiad na *lap-cap* (lub o ile byli na proszonym obiedzie, opuszczali kawę, powiadając, że wrócą niebawem, licząc w istocie na to, że „wejdą jednymi drzwiami, a wyjdą drugimi”), aby się nagiąć do godzin księżnej Parmy. Wśród tego księżna, pochłonięta grą lub rozmową, udawała, że nie widzi przybywających; aż w chwili gdy się znaleźli o dwa kroki, wstawiała z wdziękiem, uśmiechając się z dobrocią do kobiet. Te znowuż składały przed stojącą wysokością głęboki ukłon, dochodzący aż do przykłonienia, tak iż ukłon ten zbliżał ich wargi do poziomu pięknej ręki, zwisającej bardzo nisko. Ale w tej chwili księżna Parmy, tak jakby ją za każdym razem zaskoczył ceremoniał, który znała przecież bardzo dobrze, podnosiła przykłonającą damę jak gdyby przemocą, z niezrównaną słodyczą i wdziękiem, i całowała ją w policzki. Wdźwięk i słodycz, które — powie ktoś — miały za warunek pokorę, z jaką nowo przybyła zgięła kolano. Oczywiście; i zdaje się, że w społeczeństwie zdemokratyzowanym grzeczność znikłaby, nie — jak by ktoś mniemał — z braku wychowania, ale dlatego, że u jednych znikłoby uszanowanie należne prestiżowi, który może być urojony, aby był skuteczny, a zwłaszcza u drugich uprzejmość, którą się roztacza i która się wysubtelnia, kiedy się czuje, że ona ma dla zaszczyconej nią osoby nieskończoną cenę, która w świecie opartym na równości spadłaby natychmiast do zera, jak wszystko, co miało wartość jedynie umowną. Ale ten zanik grzeczności w nowym społeczeństwie nie jest pewny; czasami nazbyt jesteśmy skłonni mniemać, że obecne warunki i stan rzeczy są jedynie możliwe. Bardzo bystre umysły przypuszczały, że republika nie mogłaby mieć dyplomacji ani sojuszków i że chłopci nie zniesliby rozdziału Kościoła od państwa. Ostatecznie, grzeczność w społeczeństwie opartym na równości nie byłaby większym cudem niż sukces kolei żelaznych i wojskowe spożytkowanie samolotów. Gdyby nawet grzeczność znikła, nic nie dowodzi, aby to było nieszczęście. Przy tym, czyż społeczeństwo nie hierarchizowałoby się sekretnie, w miarę jakby się stawało realnie bardziej demokratyczne? To wielce możliwe. Władza polityczna papieża bardzo wzrosła od czasu, jak papieństwo nie ma już państwa ani armii; katedry miały o wiele mniejszy czar dla dewota w XVII wieku, niż go mają dla ateusza w wieku XX; gdyby zaś księżna Parmy była panującą, z pewnością miałbym o niej do mówienia mniej więcej tyle, co o prezydencie Republiki, to znaczy nic.

Skoro księżna Parmy podniosła i uściskała przybyłą, siadała z powrotem i wracała do swojego pasjansa; o ile nowo przybyła była wielką figurą, jej wysokość rozmawiała z nią chwilę, posadziwszy gościa na fotelu.

Kiedy w salonie robiło się za pełno, dama dworu, mająca za zadanie utrzymywanie porządku, robiła trochę luzu, prowadząc stałych gości do sąsiadującego z salonem ogromnego hallu, pełnego portretów i osobliwości związanych z rodem Burbonów. Stali goście księżnej Parmy pełnili wówczas chętnie rolę przewodników i mówili rzeczy interesujące, niecierpliwie słuchane przez młodych ludzi, bardziej łakomych oglądania żywych wysokości (a w potrzebie przedstawienia się im za pośrednictwem dam i panien dworu) niż podziwiania relikwii zmarłych królowych. Zbyt pochłonięci możliwością stosunków i zaproszeń, jakie spodziewali się złović, nie mieli, nawet po latach, najmniejszego pojęcia, co się mieściło w tym szacownym muzeum monarchii; przypominali sobie jedynie mglisto, że było ono strojne kaktusami i olbrzymimi palmami, czyniącymi to centrum elegancji podobnym do palmarium w Ogrodzie Zoologicznym.



Zapewne, księżna Oriana zachodziła czasami, dla umartwienia, na te wieczory księżnej Parmy z tzw. „dizestią”<sup>658</sup>. Jej wysokość trzymała księżną Orianą cały czas przy sobie, żartując równocześnie z jej mężem. Ale kiedy pani de Guermantes przychodziła na obiad, księżna Parmy strzegła się zapraszać swoich zwykłych gości i kasowała poobiednie przyjęcie z obawy, że jej goście, nie dość przesiani przez sito, nie przypadną do smaku wymagającej Orianie. W te wieczory, jeżeli jakiś nieświadomy wierny zjawił się u bram księżnej Parmy, odzwierny odpowiadał: „Jej królewska wysokość nie przyjmuje dziś wieczór” i gość zabierał się, skąd przyszedł. Wielu przyjaciół księżnej wiedziało zresztą z góry, że tego dnia nie będą proszeni. Była to specjalna seria — zamknięta dla tylu osób, które pragnęłyby się w niej znaleźć! Wykluczeni mogli z zupełną niemal pewnością wyliczyć wybranych i mówili kwaśno między sobą: „Wicie przecie, że Oriana nie rusza się bez swojego sztabu”. Przy pomocy tego sztabu księżna Parmy starała się odgrodzić panią de Guermantes niby murem ochronnym od osób, które mniej by jej mogły przypaść do smaku. Ale w stosunku do wielu wybranych przyjaciół Oriany, do wielu członków tego świetnego „sztabu” z pewną trudnością przychodziło księżnej Parmy stosować ten specjalny ceremoniał, ile że te osoby traktowały ją dosyć bezceremonialnie. Bez wątplenia księżna Parmy rozumiała doskonale, że ktoś może woleć towarzystwo pani de Guermantes niż jej własne. Musiała widzieć, że się tłoczono na „żurach”<sup>659</sup> Oriany i że ona sama spotykała tam często kilka królewskich wysokości poprzestających na rzucaniu biletów jej samej. Próżno notowała sobie w pamięci powiedzonka Oriany, próżno naśladowała jej suknie i podawała u siebie na herbacie ten sam torcik z truskawkami; bywały dni, że siedziała cały wieczór sama z damą dworu i z jakimś radcą zagranicznej ambasady. Toteż kiedy ktoś (jak niegdyś Swann) nie umiał skończyć dnia, nie spędziwszy dwóch godzin u pani de Guermantes, a raz na dwa lata składał wizytę księżnej Parmy, ta nie miała zbytej ochoty, nawet dla przyjemności Oriany, robić temu jakiemuś Swannowi „awansów”, zapraszając go na obiad.

Krótko mówiąc, zaprosić panią de Guermantes było dla księżnej Parmy emocjonującym przejściem, tak ją dręczyła myśl, że Orianie wszystko się może nie podobać. Ale w zamian — z tej samej przyczyny — kiedy księżna Parmy przychodziła na obiad do pani de Guermantes, z góry była pewna, że wszystko będzie dobrze, rozkosznie; bała się tylko o jedno: że nie potrafi wszystkiego zrozumieć, zapamiętać, być dość miłą, że nie potrafi przyswoić sobie myśli i ludzi. Z tego tytułu moja obecność podsycala jej uwagę i jej zachłanność, tak jakby to sprawił nowy sposób strojenia stołu girlandami owoców; niepewna, który szczegół — dekoracja stołu czy moja obecność — stanowi specjalnie jeden z uroków, sukces przyjęć Oriany, i w wątpliwości tej zdecydowana na swoim najbliższym obiedzie spróbować jednego i drugiego. Zachwyconą ciekawością, jaką księżna Parmy wносиła do pani de Guermantes, usprawiedliwiał zresztą w całej pełni ów element komiczny, niebezpieczny, podniecający, w którym wysokość ta zanurzała się z odcieniem obawy, wzruszenia i rozkoszy (jak nad morzem w czasie mocnej fali, której niebezpieczeństwa sygnalizują kąpielowi po prostu dlatego, że żaden z nich nie umie pływać); skąd wychodziła zelektryzowana, szczęśliwa, odmłodzona. Element ów zwał się „dowcipem Guermantów”. Dowcip Guermantów (wedle księżnej — uważającej się za jedyną Guermantes, która go posiada — istność równie nieistniejąca jak kwadratura koła<sup>660</sup>) był kwestią reputacji, jak paszteciki z Tours lub biszkopty z Reims. Że jednak właściwość duchowa nie udziela się tymi samymi sposobami co farba na włosy lub szminka, niektórzy bliscy pani de Guermantes, ale nie krewni, posiadali niewątpliwie dowcip, który w zamian nie zdołał nawiedzić pewnych Guermantów, zbyt opornych dla wszelkiego dowcipu. Niespokrewnieni z Orianą dzierzawcy „dowcipu Guermantów” mieli zazwyczaj tę cechę, że byli to niegdyś ludzie świetni, mający widoki kariery, nad którą — czy to była sztuka, dyplomacja, polityka, wojskowość — przełożyli życie salonowej koterii. Wybór

<sup>658</sup>„dizestia” (neol.) — z fr. *digestion*: trawienie, przemyślenie. [przypis edytorski]

<sup>659</sup>„żur” (neol.) — z fr. *jour*: dzień. [przypis edytorski]

<sup>660</sup>kwadratura koła — jeden z trzech wielkich problemów geometrycznych postawionych w starożytności, polegający na skonstruowaniu metodą klasyczną (przy użyciu wyłącznie cyrkla i linijki bez podziałki) takiego kwadratu, którego pole jest równe polu danego koła; przez setki lat tego trudnego problemu nie udało się rozwiązać ani wykazać, że rozwiązanie nie istnieje; w 1882 udowodniono, metodą niegeometryczną, że taka konstrukcja jest niewykonalna; dziś pot.: zadanie niewykonalne. [przypis edytorski]

ten dałoby się może wytłumaczyć jakimś brakiem indywidualności lub inicjatywy, lub woli, lub zdrowia, lub szczęścia — albo też snobizmem.

U niektórych (trzeba zresztą przyznać, że to były wyjątki), jeżeli salon Guermantów stał się grobem ich kariery, to wbrew ich woli. I tak pewien lekarz, pewien malarz i pewien dyplomata — wszystko ludzie z wielką przyszłością — nie zrobili kariery, mimo iż wyjątkowo uzdolnieni, dlatego że dzięki swojej zażyłości z Guermantami dwaj pierwsi zyskali opinię bawidamków, a trzeci wstecznika, co ich zgubiło w oczach kolegów po fachu. Starodawna toga i czerwony biret, strojące jeszcze ciała Fakultetu<sup>661</sup>, nie są — lub przynajmniej nie były jeszcze do niedawna — jedynie czystym przeżytkiem zacofanej i ciasnej kastowości. Pod biretem ze złotymi galkami, jak arcykapłani żydowscy pod wysoką czapką, „profesorowie” tkwili jeszcze — mówię tu o latach sprzed sprawy Dreyfusa — w pojęciach ściśle faryzejskich<sup>662</sup>. Du Boulbon był w gruncie artystą, ale ocaliło go to, że nie lubił „świata”. Cottard bywał u Verdurinów, ale pani Verdurin była pacjentką; przy tym ratowała Cottarda jego pospolitość; wreszcie u siebie w domu przyjmował wyłącznie Fakultet, biesiadami, nad którymi unosił się opar karbolu<sup>663</sup>. Ale w silnych organizacjach, gdzie zresztą ostracyzm przesądów wynagrodzony jest nieskazitelną uczciwością, wysokimi pojęciami moralnymi, bardziej nieugiętymi niż w środowiskach liberalnych — swobodniejszych i rychło ulegających rozkładowi — profesor, w swojej szkarłatnej atłasowej czerwonej szacie podbitej gronostajami jak u weneckiego doży<sup>664</sup> (doża — diuk), rezydującego w pałacu dożów, był równie cnotliwy, równie oddychający szlachetnymi zasadami, ale równie nieubłagany dla wszelkiego obcego elementu, jak ów inny diuk, zacny, ale groźny — Saint-Simon. Obcy — to dla nich był lekarz światowy, mający inny sposób bycia, inne stosunki. Aby z tego wybrnąć, nieszczęśliwiec, o którym tutaj mowa, bojąc się ściągnąć podejrzenie kolegów, że nimi gardzi (cóż za światowy punkt widzenia!), gdyby przed nimi taił księżnę de Guermantes, miał nadzieję rozbroić ich, wyprawiając obiady „mieszane”, na których element lekarski rozpuszczony był w elemencie światowym. Nie wiedział, że podpisał tym swoją zgubę, a raczej dowiedział się o tym, kiedy Rada Dziesięciu<sup>665</sup> (trochę liczniejsza niż dziesięciu) miała obsadzić wakującą katedrę i kiedy zawsze nazwisko „normalniejszego” (choćby mierniejszego) lekarza wychodziło z fatalnej urny, a w starożytnym Fakultecie rozlegało się „veto”, równie uroczyste, równie śmieszne, równie straszliwe, jak „iuro”, przy którym umarł Molier<sup>666</sup>. To samo było z malarzem na zawsze opatrzonym etykietą światowca, podczas gdy światowcy uprawiający sztukę zdołali uzyskać etykietkę artystów; toż samo wreszcie z dyplomata mającym za wiele reakcyjnych stosunków.

Ale to były najrzadsze wypadki. Typem dystyngowanych ludzi składających salon Guermantów byli ci, którzy dobrowolnie (bodaj we własnym mniemaniu) wyrzekli się reszty, wyrzekli się wszystkiego niedającego się pogodzić z duchem Guermantów, grzecznością Guermantów, z tym nieokreślonym czarem, wstrętem dla wszelkiego „ciała”, bodaj trochę scentralizowanego.

I ci, co wiedzieli, że niegdyś jeden z tych stałych gości księżnej dostał złoty medal w Salonie<sup>667</sup>; że drugi, sekretarz kongresu adwokatów, zabłysnął swego czasu w parlamencie; że trzeci oddał usługi Francji jako dyplomata, mogliby uważać za skrachowanych owych ludzi, którzy nie działali już nic od dwudziestu lat. Ale ci „poinformowani” byli nieliczni; samym zaś zainteresowanym nie pozostałoby w głowie przypominać o tym, ile

<sup>661</sup>Fakultet — tu: Fakultet (Wydział) Medyczny Paryża (*Faculté de Médecine de Paris*), w 1896 roku zgrupowany z czterema innymi wydziałami paryskimi w nowy Uniwersytet Paryski. [przypis edytorski]

<sup>662</sup>faryzejski — taki jak u faryzeuszów; faryzeusze: polityczno-religijne konserwatywne stronnictwo żydowskie w Palestynie, odznaczające się formalistycznym stosunkiem do starych praw i obyczajów religijnych. [przypis edytorski]

<sup>663</sup>karbol — wodny roztwór fenolu; środek odkażający o silnym, nieprzyjemnym zapachu, dawniej szeroko używany w lecznictwie do dezynfekcji pomieszczeń i przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>664</sup>doża — naczelnik państwa w Wenecji. [przypis edytorski]

<sup>665</sup>Rada Dziesięciu — urząd Republiki Weneckiej odpowiedzialny za bezpieczeństwo państwa i tajną dyplomację, często działający potajemnie. [przypis edytorski]

<sup>666</sup>„iuro”, przy którym umarł Molier — gdy Molier grał jako aktor w swojej sztuce *Chory z urojenia*, przy słowie „iuro” zemdlął i kilka godzin po przedstawieniu zmarł. [przypis edytorski]

<sup>667</sup>Salon Paryski — organizowana cyklicznie oficjalna wystawa sztuki, na której prezentowano publicznie prace artystów Królewskiej Akademii Malarstwa i Rzeźby; pierwszą wystawę zorganizowano po raz pierwszy w 1667 w Salon Carré w Luwrze (stąd nazwa). [przypis edytorski]

że — właśnie na zasadzie „ducha Guermantów” — uważali te dawne tytuły za bezwartościowe; czyż ten duch nie mienił „piłą”, „belfrem” lub, przeciwnie, „komiwojażerem” wybitnych ministrów, z których jeden był trochę uroczysty, a drugi miał słabość do kalamburów? Dzienniki śpiewały ich chwałę, ale pani de Guermantes ziewała i okazywała zniecierpliwienie, o ile nieuwaga gospodyni domu dała jej kóregoś z nich za sąsiada. Skoro być wybitnym mężem stanu nie stanowiło dla księżnej żadnej rekomendacji, ci spośród jej przyjaciół, którzy zrezygnowali z dyplomacji lub z armii, którzy poniechali ubiegania się o mandat poselski, przychodząc co dzień na śniadanie i na gawędy ze swoją dostojną przyjaciółką, odnajdując ją w salonie królewskich wysokości (mało zresztą przez nich cenionych, przynajmniej tak powiadali), sądzili, że wybrali lepszą część, mimo że ich wyraz twarzy — melancholijny nawet wśród wesołości — przeczył nieco słuszności tego sądu.

Bądź co bądź, trzeba przyznać, że subtelności towarzyskie, finezja rozmowy były u Guermantów czymś realnym — mimo iż wątłym. Żaden oficjalny tytuł nie był tam wart tyle, co uznanie niektórych ulubieńców pani de Guermantes, których najpotężniejsi ministrowie nie zdołaliby ściągnąć do siebie. Jeżeli w tym salonie pogrzebano na zawsze tyle ambicji intelektualnych, a nawet tyle szlacheckich aspiracji, z pyłu ich zrodził się bodaj najpiękniejszy kwiat światowości. Niewątpliwie, ludzie dowcipni, jak na przykład Swann, uważali się za coś wyższego od wartościowych ludzi, którymi gardzili; dlatego że wartością, którą księżna de Guermantes ceniła ponad wszystko, była nie inteligencja, ale to, co wedle niej było wyższą, wyborniejszą formą inteligencji, wzniesionej aż do słownej odmiany talentu — dowcip. I kiedy niegdyś u Verdurinów Swann uznał Brichota i Elstira jednego pedantem, drugiego bufonem, mimo całej wiedzy jednego, a geniuszu drugiego, klasyfikacja ta płynęła z ducha Guermantów. Nigdy Swann nie ośmieliłby się przedstawić żadnego z nich księżnej, czując, z jaką miną przyjęłaby tyrady Brichota i kalambury Elstira, ile że „duch Guermantów” mieścił pretensjonalne i przydługie popisy „serio” lub „buffo”<sup>668</sup> w kategorii najnieznośniejszego kretynstwa.

Co się tyczy Guermantów z krwi i kości, o ile „duch Guermantów” nie opanował ich tak zupełnie, jak się to zdarza na przykład w kółkach literackich, gdzie wszyscy mają wspólną manierę dykcji, stylu, a w następstwie i myśli, nie znaczy to z pewnością, aby oryginalność była w kołach światowych silniejsza i aby przeszkadzała tam naśladownictwu. Ale warunkiem naśladownictwa jest nie tylko brak bezwzględnej oryginalności, lecz także pewna subtelność ucha, pozwalająca najpierw rozpoznać to, co się imituje potem. Otóż niektórym Guermantom brakło tego zmysłu muzycznego w równym stopniu co Courvoisierom.

Weźmy za przykład ćwiczenie, które się zwie w innym znaczeniu słowa „imitacja” — „robieniem imitacji” (co u Guermantów nazywało się „parodią”). Mimo iż pani de Guermantes robiła je cudownie, Courvoisierowie równie byli niezdolni ocenić tego, co gdyby byli gromadą królików; po prostu dlatego, że nigdy nie umieli zauważyć wady lub akcentu, które księżna starała się parodiować. Kiedy „imitowała” księcia de Limoges, Courvoisierowie protestowali: „Och, nie, przecież on tak nie mówi; byłem z nim wczoraj na obiedzie u Bebetki, rozmawiał ze mną cały czas, nie mówił wcale w ten sposób”; podczas gdy nieco bardziej wyrobieni Guermantowie wykrzykiwali: „Boże, jaka ta Oriana jest cudowna! Najlepsze jest, że, kiedy go udaje, robi się do niego podobna! Zdaje mi się, ależ tak, że go słyszę! Oriano, jeszcze trochę Limoges!” Otóż ci Guermantowie (nie sięgając nawet do najwybitniejszych, którzy kiedy księżna imitowała księcia de Limoges, wykrzykiwali z podziwem: „Och, można powiedzieć, że pani go *chwyciła*” albo że „tyś go chwyciła”), mimo iż nie grzeszyli dowcipem wedle pani de Guermantes (w czym miała słuszność), przez osłuchanie się z powiedzeniami księżnej i powtarzanie ich nauczyli się, lepiej lub gorzej, naśladować jej sposób mówienia, formowania myśli, tego, co Swann, zarówno jak książę Błazej, nazwałiby jej sposobem „redagowania”. W rezultacie mieli w swojej rozmowie coś, co Courvoisierom wydawało się okropnie pokrewne z dowcipem Oriany i co stało się dla nich mitycznym „dowcipem Guermantów”. Ponieważ ci Guermantowie byli nie tylko jej krewnymi, ale i wielbicielami, Oriana — która bardzo

<sup>668</sup> „serio” lub „buffo” — serio lub żartobliwie; odniesienie do dwóch podstawowych gatunków opery: *opera seria* to opera poważna, zaś *opera buffa* to opera komiczna. [przypis edytorski]

trzymała resztę rodziny na uboczu, mszcząc się obecną wzdardą za dokuczliwość, jakie od niej cierpiała, będąc panną — odwiedzała ich od czasu do czasu, zazwyczaj z mężem, korzystając z pięknego dnia. Te wizyty stanowiły ewenement. Serce biło szybciej księżnej d'Épinay, przyjmującej gości w wielkim parterowym salonie, kiedy spostrzegła z daleka, niby pierwsze blaski niegroźnego pożaru lub rekonesans niespodzianego najazdu, Oriane, mijającą wolno dziedziniec, w czarującym kapeluszu, z pochyloną umbrellką, z której ociekał zapach lata. „O! Oriana” — wołała niby „baczość”, mające przezornie ostrzec gości, iżby mieli czas wyjść w ordynku i bez paniki ewakuować salony. Połowa obecnych nie ważyła się zostać, zrywała się. „Ale nie, czemu? niechże pani siada, bardzo mi będzie miło” — mówiła pani domu swobodnym i niedbałym tonem (aby robić wielką damę), ale głosem mającym coś sztucznego. — „Nie, nie, z pewnością macie do pomówienia ze sobą”. — „Doprawdy, spieszysz się, kochanie? Odwiedzę cię niedługo” — odpowiadała pani domu tym, których wołałaby widzieć za drzwiami.

Księstwo Błażejowie kłaniali się bardzo grzecznie osobom, które widywali tam od lat, nie dopuszczając do bliższych stosunków, a które ledwo się z nimi witały przez delikatność. Zaledwie ci goście wyszli, książę wypytywał się o nich uprzejmie, aby się wydawało, że on się żywo interesuje tymi osobami, mimo że ich nie zaprasza do siebie wskutek niegodziwości losu lub nerwów Oriany.

— Kto to była ta mała w różowym kapelusiku?

— Ależ, kuzynie, widziałeś ją nieraz; to wicehrabina de Tours, z domu Lamarzelle.

— Wiecie państwo, że ona jest ładna, wygląda bardzo inteligentnie; gdyby nie drobna wada w górnej wardze, byłaby po prostu czarująca. Jeżeli istnieje wicehrabia de Tours, można mu powinszować. Oriano, wiesz, kogo mi przypominają te brwi i ta linia czoła? Twoją kuzynkę, Jadzię de Ligne.

Księżna de Guermantes, która wiedziała, z chwilą gdy się mówiło o piękności innej kobiety, nie podejmowała tego tematu. Nie doceniała dobrej woli swego małżonka w okazywaniu, że się bardzo interesuje osobami, które u niego nie bywają, przez co, jak sądził, robił wrażenie człowieka bardziej serio niż jego żona.

— Kuzynko! — wykrzykiwał nagle z siłą. — Powiedziała kuzynka: Lamarzelle. Przypominam sobie, kiedy byłem posłem, bardzo niepospolitą mowę, którą wygłosił...

— To był właśnie wuj tej młodej kobietki.

— A, co za talent! Nie, kochanie — rzekł książę do wicehrabiny d'Égremont, której pani de Guermantes nie mogła znieść, ale która, nie ruszając się z domu księżnej d'Épinay, gdzie zniżała się dobrowolnie do roli subretki (wynagradzała to sobie biciem własnej subretki za powrotem do domu), tkwiła tam zmieszana, zafrasowana, ale siedziała, kiedy książęca para wkraczała do salonu, zdejmowała płaszcz, starała się być użyteczna, przez dyskrecję proponowała, że przejdzie do sąsiedniego pokoju — nie trzeba dla nas robić herbaty, rozmawiajmy sobie spokojnie, my jesteśmy ludzie prości, bez pretensji. Zresztą — dodawał, zwracając się do księżnej d'Épinay, a opuszczając panią d'Égremont, zarumienioną, pokorną, ambitną i gorliwą — mamy tylko kwadrans czasu.

Ten kwadransik wypełniało całkowicie cytowanie dowcipów, które Oriana popełniła w ciągu ubiegłego tygodnia; ona sama nie byłaby ich z pewnością cytowała, ale książę, niby to łącząc żonę z powodu wydarzeń, które je wywołały, bardzo zręcznie doprowadzał ją do powtórzenia konceptu.

Księżna d'Épinay, która lubiła kuzynkę i wiedziała, że Oriana ma słabość do komplementów, rozplywała się nad jej kapeluszem, parasolką, dowcipem.

— Niech kuzynka chwali jej toaletę, ile się kuzynce podoba — rzekł książę niby to opryskliwym tonem, który łagodził figlarnym uśmiechem, iżby nie wzięto poważnie jego niezadowolenia — ale na miłość boską nie jej dowcip; obszedłbym się chętnie bez posiadania tak dowcipnej żony. Kuzynka myśli zapewne o lichym kalamburze Oriany na mojego brata Palamedę — dodał, wiedząc doskonale, że księżna d'Épinay, wraz z resztą rodziny, nie znała jeszcze tego kalamburu, i ciesząc się, że może zareklamować żonę. — Po pierwsze, uważam za niegodne osoby, której, przyznając, udało się nieraz powiedzieć coś bardzo ładnego, popełniać liche kalambury, zwłaszcza na mego brata, który jest bardzo drażliwy. Jeżeli to ma mieć ten skutek, że nas poróżni z Palamedem, to w istocie piękny rezultat!

— Ależ my nic nie wiemy! Kalambur Oriany? To musi być coś uroczonego. Och, niech kuzyn powie.

— Ale nie, ale nie — odparł książę jeszcze nadąsany, mimo iż bardziej uśmiechnięty — niezmiernie się cieszę, żeście tego nie słyszeli. Serio, ja bardzo kocham mojego brata.

— Słuchaj, Błażeju — rzekła księżna, na którą przyszedł moment wmieszania się do dialogu — nie wiem, czemu ty mówisz, że to może pogniewać Palamedę; wiesz doskonale, że wcale nie. On jest zbyt inteligentny, aby się obrazić o ten niemądry żarcik, w którym nie ma nic przynoszącego ujmę. Gotów kto uwierzyć, że ja powiedziałam coś złośliwego; odpowiedziałam po prostu coś, w czym nie ma nic zabawnego, ale czemu ty nadajesz wagę przez swoje oburzenie. Nie rozumiem cię.

— Intrygujecie nas, o cóż więc chodzi?

— Och, oczywiście o nic poważnego — wykrzyknął pan de Guermentes. — Słyszeliście może, że mój brat chciał darować Brézé, zamek, który ma po żonie, swojej siostrze Marsantes.

— Tak, ale mówiono nam, że ona nie pragnie tego prezentu, że nie lubi tych stron, że jej klimat nie odpowiada.

— No więc właśnie ktoś mówił to wszystko mojej żonie, dodając, że jeżeli brat darowuje ten zamek naszej siostrze, to nie po to, aby jej zrobić przyjemność, ale żeby ją „takinować”<sup>669</sup>. „Charlus jest taki spryka” — mówił ów ktoś. Otóż wiecie państwo, Brézé to jest kąsek królewski, to może być warte kilka milionów, dawna siedziba królewska, jeden z najpiękniejszych lasów we Francji. Jest wiele osób, które by się zgodziły, aby je „takinować” w podobny sposób. Toteż słysząc to wyrażenie w zastosowaniu do Charlusa, dlatego że chciał darować tak wspaniały zamek, Oriana nie mogła się wstrzymać, aby nie wykrzyknąć — mimo woli, przynaję, bez złej myśli, bo jej to przyszło nagle jak błyskawica. „Takinować, takinować... w takim razie to jest Takiniusz pyszny!” Rozumiecie — dodał książę przybierając z powrotem nadąsaną minę, a zarazem spoglądając wkoło, aby ocenić wrażenie dowcipu żony (przy czym książę był raczej sceptyczny co do biegłości pani d'Épinay w historii starożytnej); rozumie kuzynka, to aluzja do Tarkwiniusza Pysznego, króla rzymskiego; idiotyczna zresztą, licha gra słów, niegodna Oriany. A przy tym ja, który, mniej wprawdzie dowcipny od Oriany, jestem taktowniejszy od niej, ja myślę o następstwach; jeżeli fatalność zechce, aby to ktoś powtórzył bratu, będzie cała historia! Tym więcej — dodał — że ponieważ właśnie Palamed jest bardzo wyniosły, bardzo dumny i drażliwy, skłonny do komeraży<sup>670</sup>, trzeba przyznać, że nawet pomijając kwestię zamku, „Takiniusz Pyszny” wcale dobrze go maluje. To ratuje powiedzonka mojej pani, że nawet kiedy się chce zniżyć do dość pospolitej gry słów, pozostaje „inteligentna mimo woli” i niezgorzej charakteryzuje ludzi.

Tak więc, raz „Takiniuszem Pysznym”, drugi raz innym dowcipem, owe familijne wizyty państwa de Guermentes odnawiały repertuar anegdot, a wzruszenie, jakie wносиły, trwało długo po odejściu dowcipnej pani i jej impresaria. Najpierw dzielono się powiedzonkami Oriany z wybranymi osobami, które zostawszy w salonie, brały udział w tej biesiadzie.

— Pani nie znała „Takiniusza Pysznego”? — pytała księżna d'Épinay.

— Owszem — odpowiadała, rumieniąc się, margrabina de Baveno. — Księżna de Sarsina (La Rochefoucauld) mówiła mi o tym, mimo iż trochę w innej formie. Ale to musiało być o wiele zabawniejsze opowiedziane przy samej Orianie — dodała tak, jakby mówiła: „z akompaniamentem autora”.

— Mówiliśmy o ostatnim dowcipie Oriany, która była tu przed chwilą — powiadano jakiejś damie, zrozpaczonej, że nie przyszła o godzinę wcześniej.

— Jak to, Oriana była tutaj?

— Ależ tak, gdybyś była przyszła trochę wcześniej! — odpowiadała księżna d'Épinay bez wyrzutu, ale dając do zrozumienia, ile niezręczna straciła. To jej wina, jeżeli nie była świadkiem stworzenia świata lub ostatniego występu pani Carvalho<sup>671</sup>.

<sup>669</sup> „takinować” (neol.) — z fr. *taquiner*: drażnić, dokuczać. [przypis edytorski]

<sup>670</sup> komeraż (daw.) — złośliwa plotka, obgadywanie. [przypis edytorski]

<sup>671</sup> *Miolan-Carvalho, Caroline* (1827–1895) — francuska śpiewaczka operowa, sopran. [przypis edytorski]

„Co powiadacie o ostatnim dowcipie Oriany? Wyznaję, że bardzo mi się podoba Takiniusz Pyszny!” — powtarzano, podając dowcip jeszcze na zimno nazajutrz przy śniadaniu specjalnie na to zaproszonym gościom i odgrzewając go w różnych sosach przez cały tydzień. Nawet księżna d'Épinay, będąc w tym tygodniu z doroczną wizytą u księżnej Parmy, skorzystała z tego, aby spytać jej wysokość, czy знаła już ten kalambur, po czym opowiadała go.

„A! Takiniusz Pyszny” — powiadała księżna Parmy z oczami z góry rozszerzonymi podziwem, błagając o dodatkowe wyjaśnienia, których nie odmawiała jej pani d'Épinay. „Przyznaję, że Takiniusz Pyszny nieskończenie mi się podoba jako redakcja” — konkludowała księżna. Ściśle biorąc, słowo „redakcja” nie nadawało się wcale do tego kalamburu, ale pani d'Épinay, która miała pretensję do dowcipu Guermantów, przejęła od Oriany wyrażenia „redakcja, redagować” i używała ich trochę po omacku. Otóż księżna Parmy, która nie bardzo lubiła panią d'Épinay, znajdując, że jest brzydka, wiedząc, że jest skąpa, i sądząc — na wiarę Courvoisierów — że jest zła, poznała to słowo „redakcja”, które słyszała w ustach pani de Guermantes, a którego nie umiałaby zastosować sama. Miała wrażenie, że to w istocie „redakcja” stanowi wdzięk Takiniusza Pysznego i nie zapominając całkowicie swojej antypatii do brzydkiej i skąpej damy, nie mogła się obronić uczuciu podziwu dla kobiety, posiadającej w tym stopniu ducha Guermantów. Posunęła się tak daleko, że chciała zaprosić panią d'Épinay do Opery; powstrzymała ją jedynie myśl, że wypadaloby się może poradzić wprzód Oriany. Co do pani d'Épinay, która — bardzo w tym różna od Courvoisierów — umizgała się na tysiąc sposobów do Oriany i lubiła ją, ale była zazdrosna o jej stosunki i nieco podrażniona publicznymi żarcikami księżnej na temat jej skąpstwa, opowiadała za powrotem do domu, z jakim trudem przyszło księżnej Parmy zrozumieć Takiniusza Pysznego i jaka Oriana musi być snobka, aby wciąż przedstawać z podobną gęsią. „Nie mogłabym bywać u księżnej Parmy, choćbym chciała — mówiła pani d'Épinay do osób będących u niej na obiedzie. — Mąż nie pozwoliłby mi z powodu jej życia — dodała, czyniąc aluzję do pewnych najzupełniej urojonych wybryków księżnej Parmy. — Ale nawet gdybym miała męża mniej surowego, wyznaję, że bym nie mogła. Nie rozumiem, jak Oriana może z nią wytrzymać. Ja tam chodzę raz na rok i z trudem mogę dotrzeć do końca wizyty”.

Co się tyczy Courvoisierów, którzy się znajdowali u Wiktoryny d'Épinay w chwili wizyty pani de Guermantes, przybycie pani de Guermantes dawało im na ogół hasło da ucieczki, bo ich drażniły przesadne „salamaleki” wyprawiane dla Oriany. Jeden jedyny Courvoisier został tam w dniu Takiniusza Pysznego. Nie rozumiał żartu całkowicie, ale rozumiał go bądź co bądź w połowie, bo był wykształcony. I Courvoisierowie opowiadali wszędzie, że Oriana nazwała wuja Palamedę „Tarkwiniuszem Pyszny”, co go malowało, ich zdaniem, dosyć dobrze, ale po co robić tyle historii z Orianą? — dodawali. Nie robiono by więcej hec z królową! „Ostatecznie, co to jest Oriana? Nie powiadam, aby »Guermantes« nie było stare nazwisko, ale »Courvoisier« nie ustępuje mu w niczym ani jako znakomitość, ani jako dawność, ani jako parantele. Nie trzeba zapominać, że kiedy raz w obozie król angielski spytał Franciszka I<sup>672</sup>, który z obecnych panów jest najszlachetniejszy rodem, ów odpowiedział: „Courvoisier, Sire”. Zresztą, choćby wszyscy Courvoisierowie zostali w salonie, dowcipy Oriany zrobiłyby na nich niewielkie wrażenie, ile że wydarzenia, które je zazwyczaj rodziły, przedstawiały się ich oczom zgoła odmiennie. Jeżeli na przykład któreś Courvoisierce zbrakło krzesel na jej przyjęciu lub jeśli się pomyliła w nazwisku gościa, którego nie poznała, albo jeżeli ktoś ze służby głupio się do niej odezwał, Courvoisierka, zrozpaczona, pąsowa, trzęsąc się z emocji, bolała nad tym wypadkiem. I kiedy miała u siebie jakiegoś gościa, a Oriana miała przyjść, mówiła niepokojnie, trwożliwie i rozkazująco pytającym tonem: „Czy pan ją zna?”, obawiając się — o ile gość jej nie zna — aby jego obecność nie sprawiła na Orianie złego wrażenia. Pani de Guermantes natomiast czerpała z takich wypadków temat do opowiadań, które śmieszyły Guermantów do łez, tak iż trzeba było jej zazdrościć, że jej zbrakło krzesel,

<sup>672</sup>Franciszek I Wależjusz (1494–1547) — król Francji (od 1515); w czerwcu 1520 spotkał się z Henrykiem VIII, królem Anglii, chcąc sobie zapewnić jego przychylności w zbliżającym się konflikcie z Karolem V Habsburgiem. [przypis edytorski]

że sama strzeliła lub pozwoliła swemu służącemu strzelić bąka, że miała u siebie kogoś, kogo nikt nie znał, tak jak trzeba się cieszyć, że wielkiego pisarza upokarzali mężczyźni, a zdradzały kobiety, skoro ich upokorzenie i cierpienia stały się, jeżeli nie źródłem ich geniuszu, to bodaj tematem ich dzieł.

Courvoisierowie nie byli również zdolni wzbić się do nowatorstwa, które pani de Guermantes wnosila w życie światowe i które — stosując je nieomylnym instynktem do potrzeb chwili — czynila czymś artystycznym tam, gdzie sztywne zastosowanie reguł dałoby równie złe rezultaty, co gdyby ktoś, chcąc osiągnąć sukcesy w miłości lub w polityce, skopiował dosłownie własnym życiem czyny jakiegoś Bussy d'Amboise<sup>673</sup>. Jeżeli Courvoisierowie wydawali obiad rodzinny lub obiad dla koronowanej głowy, zaproszenie jakiegoś utalentowanego człowieka, przyjaciela ich syna, zdawało się im anomalią zdolną wyrzucić najgorsze wrażenie. Jedna Courvoisierka, której ojciec był za Cesarstwa ministrem, mając wydać herbatkę na cześć księżniczki Matyldy<sup>674</sup>, wyciągnęła stąd matematyczny wniosek, że może zaprosić jedynie samych bonapartystów. Otóż nie znała prawie żadnego. Wszystkie eleganckie kobiety z jej świata, wszyscy mili mężczyźni zostali bezlitośnie wykluczeni, ponieważ — jako legitymiści z przekonania lub z tradycji — musieliby, wedle logiki Courvoisierów, razić jej cesarską wysokość. Księżniczka Matylda, która przyjmowała u siebie kwiat Faubourg Saint-Germain, zdziwiła się, zastając u pani de Courvoisier jedynie słynną pieczeniarkę<sup>675</sup>, wdowę po eks-prefekcie Cesarstwa, dalej wdowę po dyrektorze poczty oraz kilka osób, znanych zarówno ze swej wierności dla Napoleona III, jak ze swej głupoty i nudy. Niemniej księżniczka Matylda rozlała szczodry i łaskawy strumień swego monarszego wdzięku na tych żalonych brzydaków, których pani de Guermantes ani w głowie było prosić, kiedy jej z kolei przyszło gościć księżniczkę Matyldę. Zamiast nich, nie wdając się w bonapartystyczne dociekania, uwiła najbogatszy bukiet wszystkich piękności, talentów, sław, w których swoisty węch, takt i spryt księżnej Oriany pozwolił jej odgadnąć, że sprawią przyjemność bratanicy Cesarza, nawet gdy należały bodaj do rodziny króla. Nie brakowało nawet księcia d'Aumale<sup>676</sup>, a kiedy księżniczka Matylda, podnosząc panią de Guermantes — która, pochylając się głęboko, chciała ją pocałować w rękę — ucałowała ją w oba policzki, mogła z głębi serca zapewnić Oriane, że nigdy nie spędziła miłszego dnia ani nie oglądała udatniejszej fety.

Księżna Panny była Courvoisierką przez swój brak inwencji towarzyskiej; ale w przeciwieństwie do Courvoisierów niespodzianka, jaką jej bez ustanku sprawiała pani de Guermantes, rodziła w niej nie — jak w Courvoisierach — antypatię, lecz zachwyty. Zdumienie owo pogłębiał jeszcze fakt niezmiernie zaniedbanej kultury księżnej Parmy. Sama pani de Guermantes była o wiele mniej „awangardowa”, niż przypuszczała. Ale wystarczyło jej być nią więcej od księżnej Parmy, aby zdumieć tę królewską wysokość; że zaś każde pokolenie krytyków poprzestaje na postawieniu na głowie prawd poprzedników, wystarczyło Orianie powiedzieć, że Flaubert<sup>677</sup>, ten wróg mieszczaństwa, sam był na wskroś mieszcuchem, lub że w Wagnerze jest dużo włoszczyzny, aby otworzyć księżnej Parmy — za cenę wciąż nowego zmęczenia, podobnego uczuciu człowieka pływającego w czasie burzy — horyzonty, które się jej wydawały niesłychane i pozostawały dla niej mgliste. Odczuwała zdumienie wobec tych paradoksów, rzucanych nie tylko na temat dzieł sztuki, ale i na temat znajomych osób i wydarzeń towarzyskich. Bez wątpienia, księżniczka Parmy niezdolna była odróżnić „ducha Guermantów” od prymitywnie przyswojonych form tego ducha, co rodziło jej wiarę w wysoką wartość intelektualną pewnych Guermantów, a zwłaszcza Guermantek, o których ku własnemu zdumieniu słyszała później z ust Oriany, że są proste gęsi; i to było jedną z przyczyn zdumienia, w jakie wprawiła

<sup>673</sup>Bussy d'Amboise, Louis de (1549–1579) — szlachcic francuski, sławny pojedykowiec na dworze króla Henryka III, faworyt brata królewskiego Franciszka d'Alençon, kochanek królowej Małgorzaty Walezjuszki. [przypis edytorski]

<sup>674</sup>Matylda Letycja Bonaparte (1820–1904) — księżniczka francuska, córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

<sup>675</sup>pieczeniarka — kobieta mająca skłonności do żywienia się cudzym kosztem, lubiąca dobrze zjeść na cudzy koszt. [przypis edytorski]

<sup>676</sup>Henryk Orleański, książę d'Aumale (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>677</sup>Flaubert, Gustave (1821–1880) — francuski pisarz, wybitny realista, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu. [przypis edytorski]

zawsze jej wysokość sądy Oriany o ludziach. Była jeszcze inna przyczyna, którą ja, znając w owej epoce więcej książek niż ludzi i lepiej literaturę niż świat, tłumaczyłem sobie na swój sposób. Sądziłem, że księżna Oriana — żyjąc owym światowym życiem, którego czczość i próżniactwo są w stosunku do życia czynu tym, czym w sztuce krytyka wobec tworzenia — rozciąga na swoje otoczenie zmienność perspektyw, niezdrowe pragnienie mędrka, który aby napoić swój oschły umysł, szuka jakiegokolwiek niezbyt jeszcze zużytego paradoksu, gotów chwycić się orzeźwiającego poglądu, że najpiękniejszą *Ifigenią* jest *Ifigenia* Picciniego, a nie Glucka<sup>678</sup>, a w potrzebie iż prawdziwą *Fedra* jest *Fedra* Pradona<sup>679</sup>.

Kiedy jakaś inteligentna, wykształcona dowcipna kobieta zaślubiła niezgułę, którego widywało się rzadko, a nie słyszało nigdy, pani de Guermantes zafundowała sobie pewnego dnia duchową rozkosz, nie tylko zohydżając żonę, ale „odkrywając” męża. Wobec małżeństwa Cambremer na przykład (gdyby Oriana żyła wówczas w tym kole) orzekłaby, że pani de Cambremer jest głupia, natomiast człowiekiem zapoznanym, uroczym, skazanym na milczenie przez żonę terkotkę, ale tysiąc razy wartościowszym od niej jest margrabia. I w takim wyroku znalazłaby pani de Guermantes ten sam rodzaj orzeźwienia, co krytyk, który po siedemdziesięciu latach zachwyty nad *Hernanim*<sup>680</sup> wyznaje, że woli *Zakochanego lwa*<sup>681</sup>. A ta sama chorobliwa potrzeba arbitralnych przewartościowań sprawiała, iż jeżeli od czasu młodości księżnej ubolewano nad jakąś wzorową żoną, istną świętą, że ją wydano za męża za łajdaka, pani de Guermantes twierdziła pewnego dnia, że ten łajdak jest człowiekiem lekkomyślnym, ale pełnym serca, którego oschła pruderia żony pchnęła na złe drogi.

Wiedziałem, że nie tylko między dziełami w długim szeregu wieków, ale nawet w tym samym dziele krytyka lubi grażyć w cieniu to, co błyszczało zbyt długo, a wydobywa na jaw to, co się zdawało skazane na ostateczne mroki. Widziałem nie tylko Belliniego<sup>682</sup>, Winterhaltera<sup>683</sup>, architektów-jezuitów, pewnego snycerza z czasów Restauracji<sup>684</sup> windowanych na miejsce geniuszów, o których powiadano, że się zużyli, po prostu dlatego że znużyli się nimi jałowi esteci, skłonni — jak wszyscy neurastenicy — do znużenia i zmienności. Widziałem, jak Sainte-Beuve bywał kolejno to krytykiem, to poetą, jak przekreślano poezję Musseta<sup>685</sup>, z wyjątkiem drobiazgów. Bez wątpienia, niektórzy eseści błądzą, ponad najślawniejsze sceny z *Cyda* lub *Polyeucte*<sup>686</sup> wynosząc jakąś tyradę z *Kłamcy*<sup>687</sup> Corneille'a, dającą, niby stary plan, wskazówki co do życia ówczesnego Paryża; ale ich wybór — usprawiedliwiony jeżeli nie racjami artystycznymi, to bodaj wartością dokumentu — jeszcze jest zbyt racjonalny dla niepoczytalnej krytyki. Ta oddaje całego

Twórczość

<sup>678</sup>*Piccini i Gluck* — Niccolò Piccinni (1728–1800), włoski kompozytor operowy, oraz Christoph Willibald Gluck (1714–1787), kompozytor niemiecki, uważani za rywali; obaj wystawili w Paryżu opery o tytule *Ifigenia w Taurydzie* (*Ifigénie en Tauride*): Gluck w 1779, Piccinni w 1781, opera Glucka odniosła wielki sukces, wersja Picciniego poniosła porażkę. [przypis edytorski]

<sup>679</sup>*Pradon, Jacques* (1632–1698) — francuski dramatopisarz, rywal Jeana Racine'a; 1 stycznia 1677 Racine wystawił swoją tragedię *Fedra*, Pradon dwa dni później przedstawił swoją własną sztukę na ten sam temat, pt. *Fedra i Hippolit* (*Phèdre et Hippolyte*). [przypis edytorski]

<sup>680</sup>*Hernani* — przełomowy dramat Wiktora Hugo z 1830, stanowiący praktyczną realizację zasad dramatu romantycznego; wzbudził kontrowersje, podzielił ówczesnych starszych i młodszych krytyków i odbiorców (tzw. „bitwa o Hernaniego”). [przypis edytorski]

<sup>681</sup>*Zakochany lew* (fr. *Le Lion amoureux*) — popularna komedia historyczna Francois Ponsarda z 1866; Ponsard otrzymał w 1845 nagrodę Akademii Francuskiej za „postawienie tamy fali romantyzmu”, w 1855 został wybrany członkiem Akademii. [przypis edytorski]

<sup>682</sup>*Bellini* — rodzina włoskich malarzy epoki renesansu: Jacopo Bellini i dwóch jego synów, Giovanni i Gentile; trudno powiedzieć, którego z nich ma na myśli autor. [przypis edytorski]

<sup>683</sup>*Winterhalter, Franz Xaver* (1805–1873) — niemiecki malarz i twórca litografii, znany głównie z portretów przedstawiających członków europejskich rodów królewskich i arystokratycznych; w 1824 przybył do Paryża, gdzie stał się bardzo popularny. [przypis edytorski]

<sup>684</sup>*Restauracja* — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej, która ponownie obaliła ich rządy. [przypis edytorski]

<sup>685</sup>*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>686</sup>*Cyd, Polyeucte* — tragedie Pierre'a Corneille'a. [przypis edytorski]

<sup>687</sup>*Kłamca* (fr. *Le menteur*) — komedia Pierre'a Corneille'a z 1644; w scenie 5 aktu II jej bohater, Dorante, zdumiewa się szybkimi zmianami w Paryżu. [przypis edytorski]



Moliera za jeden wiersz z *Wartogłowa*<sup>688</sup>; a nawet, uważając Wagnerowskiego *Tristana*<sup>689</sup> za nudziarstwo, ocali z niego „ładny motyw rogu” w scenie przeciągania myśliwych. Owa deprawacja krytyki pomogła mi zrozumieć tę, której dowód dawała pani de Guermantes, orzekając, że pewien osobnik z jej sfery, uznany na ogół za poczciwego głupca, jest, przeciwnie, potworem egoizmu, sprytniejszym, niż się mniema; że inny, znany z hojności, jest wcieleniem skąpstwa; że dobra matka nie dba o dzieci, kobieta zaś, którą uważano za zepsutą, ma najszlachetniejsze instynkty. Jak gdyby skażone czczością światowego życia, inteligencja i wrażliwość pani de Guermantes były zbyt chwiejne, aby niesmak nie zastępował szybko entuzjazmu (luzując się z nim kolejno w stosunku do tych samych przejawów ducha). Sympatia, jaką w niej budził wartościowy człowiek, ustępowała miejsca irytacji, o ile ten człowiek zbyt często szukał jej towarzystwa, a zwłaszcza o ile szukał w niej kierunku, którego nie była zdolna mu udzielić. Sądziła, iż irytację tę spowodował jej wielbiciel, w istocie zaś przyczyną była jedynie niemożność znalezienia przyjemności — niepodobnej do pochwylenia, o ile się wyłącznie jej szuka. Kaprys sądów księżnej nie oszczędzał nikogo, wyjąwszy męża. On jeden nigdy jej nie kochał; w nim czuła zawsze charakter z żelaza, obojętny na jej grymasy, niedbający o jej piękność, gwałtowny, o nieugiętej woli — jedynej, pod której władzą nerwowe natury zdolne są znaleźć spokój. Z drugiej strony, pan de Guermantes, ścigając wciąż jeden typ kobiecej piękności, ale szukając go w zmienianych często kochankach, miał tylko jedną trwałą i niezmienną współniczkę, która go drażniła często gadulstwem, ale o której wiedział, że ją cały świat ma za najpiękniejszą, najcnotliwszą, najinteligentniejszą, najwykształceńszą w arystokracji; za żonę, z której posiadania on, książę de Guermantes, powinien być szczęśliwy; która pokrywała wszystkie jego szaleństwa, umiała przyjmować jak nikt i utrzymywała dom na stopie pierwszego salonu Faubourg Saint-Germain. Tę opinię świata podzielał i książę: wściekły często na żonę, był jednakże z niej dumny. O ile, będąc równie skąpy jak próżny, odmawiał jej najdrobniejszej sumki na dobroczynność lub dla służby, dbał o to, aby księżna miała najwspanialsze toalety i najpiękniejsze zaprzęgi.

Za każdym razem kiedy pani de Guermantes wymyśliła, na temat gwałtownie przez nią przewartościowanych zalet i wad jednego z przyjaciół, nowy i smakowity paradoks, płonęła żądzą wypróbowania go wobec osób zdolnych go ocenić, olśnienia ich oryginalnością psychologiczną paradoksu i błysnięcia jego lapidarną zjadliwością. Zapewne, te nowe poglądy mieściły najczęściej nie więcej prawdy niż dawne, często mniej; ale właśnie ta ich dowolność i niespodzianność dawały im coś intelektualnego, podniecającego samą ich autorkę. Tyle tylko, że pacjent, na którym ćwiczyła się psychologiczna bystrość Oriany, był zazwyczaj bliskim przyjacielem, ci zaś, z którymi ona pragnęła podzielić się swoim odkryciem, nie wiedzieli nic o tym, że on już wypadł z łaski; toteż reputacja pani de Guermantes jako nieporównanej przyjaciółki, serdecznej i wiernej, utrudniała rozpoczęcie ataku; księżna mogła co najwyżej dorzucić słówko później, jak gdyby zniewolona, mieszając się do rozmowy po to, aby łagodzić, aby powstrzymać na pozór, w istocie zaś, aby wspomagać partnera mającego za zadanie sprowokowanie jej; i w tej właśnie roli celował pan de Guermantes.

Co się tyczy spraw „świata”, była to znów inna przyjemność, samowładnie teatralna, jaką odczuwała pani de Guermantes, wygłaszając w tych sprawach owe nieoczekiwane sądy, smagające księżną Parmy nieustanną i rozkoszną niespodzianką. Tę przyjemność pani de Guermantes próbowałam sobie wytłumaczyć nie tyle analogiami z krytyką literacką, ile z życiem politycznym i kroniką parlamentarną. Kiedy zmienne i sprzeczne edykty, jakimi pani de Guermantes wciąż wywracała hierarchię osób swojego świata, nie wystarczały już, aby ją rozerwać, starała się kosztować owych sztucznych emocji również we własnym postępowaniu, w sposobie, w jaki notyfikowała<sup>690</sup> swoje najdrobniejsze światowe wyroki; starała się być w nich posłuszna owym sztucznym obowiązkom, pobudzającym temperaturę zgromadzeń i sugestionującym umysły polityków. Wiadomo,

<sup>688</sup> *Wartogłów* — wczesna komedia Moliera z 1655, wzorowana na komediach włoskich. [przypis edytorski]

<sup>689</sup> *Tristan i Izolda* — opera Richarda Wagnera z roku 1859, dramat muzyczny na podstawie średniowiecznej legendy o tragicznej miłości rycerza Tristana i księżniczki Izoldy Jasnowłosej; „ładny motyw rogu” w scenie *przeciągania myśliwych*: na początku II aktu tej opery. [przypis edytorski]

<sup>690</sup> *notyfikować* — w stosunkach dyplomatycznych: oficjalnie powiadamiać inne państwo lub grupę państw o ważnym fakcie lub postanowieniu. [przypis edytorski]

że kiedy minister tłumaczy Izbie intencje, jakie miał, trzymając się pewnej linii postępowania, która w istocie wydaje się całkiem prosta rozsądnemu człowiekowi czytającemu nazajutrz w swoim dzienniku sprawozdanie z tego posiedzenia, ów rozsądny czytelnik odczuwa nagły wstrząs i zaczyna wątpić, czy słusznie aprobował ministra, kiedy widzi, że mowy jego słuchano wśród żywego podniecenia i punktowano ją słowami nagany, jak: „To bardzo poważne”, rzuconymi przez posła o tak długim nazwisku i tytułach i mającymi za następstwo poruszenia tak wymowne, iż w całym incydencie słowa: „To bardzo poważne!” zajmują mniej miejsca niż hemistych<sup>691</sup> w aleksandrynie<sup>692</sup>. Swojego czasu na przykład, kiedy pan de Guermantes, jako książę des Laumes, zasiadał w Izbie, czytywało się w dziennikach paryskich, mimo że to było zwłaszcza obliczone na okręg Méséglise, aby dowieść wyborcom, że nie oddali głosów na gnuśnego lub niemego kandydata:

Pan de Guermantes-Bouillon, książę des Laumes: „To bardzo poważne!” — („Słusznie! Bardzo słusznie!” — w centrum i na niektórych ławkach prawicy; żywe okrzyki skrajnej lewicy).

Rozsądny czytelnik zachowuje jeszcze cień wierności dla roztropnego ministra, ale serce jego wstrząsają nowe uderzenia przy pierwszych słowach nowego mówcy, odpowiadającego ministrowi:

„Zdumienie, osłupienie — to nie będzie za silnie powiedziane (żywe poruszenie po prawej stronie sali) — z jakim słuchałem słów tego, który jest jeszcze, przypuszczam, członkiem rządu...” (grzmot oklasków; kilku posłów ciśnie się do ławy ministrów; podsekretarz stanu poczt i telegrafu daje ze swego miejsca twierdzący znak głową).

Ten „grzmot oklasków” zwalcha ostatni opór rozsądnego czytelnika; widzi obelgę dla Izby, potworność w postępku najzupełniej pozbawionym znaczenia, ewentualnie w jakimś normalnym fackie, na przykład: żądać, aby bogaty płacił więcej niż biedny, oświecić jakąś niesprawiedliwość, woleć pokój od wojny; wyda mu się to skandaliczne i dojrzy w tym obrazy pewnych zasad, o których sam nie pomyślał, które nie są wyrzyte w sercu człowieka, ale które wzruszają silnie z powodu oklasków, jakie rozpętują, oraz zwartych większości, jakie skupiają.

Trzeba zresztą przyznać, że ta subtelność ludzi politycznych, która mi pomogła zrozumieć środowisko Guermantów, a później inne środowiska, jest jedynie nadużyciem pewnej sztuczki w interpretacji, często określanej jako „czytanie między wierszami”. Jeżeli nadużywanie tej finezji jest absurdem zgromadzeń, brak jej znowuż trąci tępotą publiczności, która bierze wszystko dosłownie, nie podejrzewa dymisji, kiedy wysokiego dygnitarza zwalniają z jego obowiązków „na własne żądanie”, i powiada sobie: „Nie dostał przecież dymisji, skoro to on sam prosił o nią”; która nie podejrzewa klęski, kiedy Rosjanie ruchem strategicznym cofają się przed Japończykami na „silniejsze i z góry przygotowane pozycje”; nie podejrzewa odmowy, kiedy jakaś prowincja żądała od cesarza Niemiec niezawisłości, a ten użycza jej autonomii religijnej. Możliwe zresztą jest (aby wrócić do posiedzeń Izby), że z początku sami posłowie podobni są do owego rozsądnego człowieka, który będzie czytał sprawozdanie. Dowiadując się, że strajkujący robotnicy wysłali delegatów do ministra, może pytają się naiwnie: „A, to ciekawe, co oni tam sobie powiedzieli; miejmy nadzieję, że wszystko się ułożyło” — może tak sobie powiadają w chwili, gdy minister wstępuje na trybunę wśród głębokiego milczenia, już zaostrażającego sztucznie emocje. Pierwsze słowa ministra: „Nie potrzebuję mówić Izbie, że mam zbyt wysokie poczucie obowiązków rządu, abym mógł przyjąć delegację, której powaga mego urzędu nie pozwoliła mi uznać”, są istnym efektem teatralnym, była to bowiem jedyna hipoteza, której zdrowy rozsądek posłów nie byłby przypuścił. Ale właśnie dlatego, że to jest efekt teatralny, przyjęty jest takimi oklaskami, że dopiero po upływie kilku minut może zacząć mówić minister — minister, który wracając na swoje miejsce, spotka

<sup>691</sup>hemistych — półwers, w poezji nowożytej: połówka wersu wiersza wyodrębniona przez średniówkę. [przypis edytorski]

<sup>692</sup>aleksandryn (lit.) — parzyście rymowany dwunastozgłoskowy wiersz ze średniówką po szóstej sylabie, stosowany w utworach o charakterze heroicznym, np. w epejach lub tragediach, popularny w poezji francuskiej. [przypis edytorski]

się z powinszowaniem kolegów. Wszyscy są równie wzruszeni jak w dniu, kiedy minister nie zaprosił na wielką oficjalną uroczystość prezesa rady gminnej, która była w stosunku do niego w opozycji; i wszyscy oświadczają, że w jednej, jak i w drugiej okazji postąpił jak prawdziwy mąż stanu.

W tej epoce swego życia, ku wielkiemu zgorszeniu Courvoisierów, pan de Guermantes często należał do owych „kolegów winszujących ministrowi”. Słyszałem później, że nawet w momencie, w którym grał dosyć wielką rolę w Izbie, kiedy to myślano dla niego o ministerstwie lub o ambasadzie, był on, kiedy jakiś przyjaciel prosił go o przysługę, nieskończenie prostszy, o wiele mniej robiący ważną figurę polityczną niż wszelki inny, który by nie był księciem de Guermantes. Bo jeżeli książę powiadał, że urodzenie jest rzeczą błahą, że uważa swoich kolegów za równych sobie, nie myślał tego ani trochę. Zabiegał o sytuacje polityczne, udawał, że je ceni, ale gardził nimi; że zaś zostawał dla samego siebie panem de Guermantes, nie przydawały mu one owej dygnitarzkiej nadętości, która innych czyni niedostępnymi. I dzięki temu дума księcia chroniła od wszelkich wpływów nie tylko jego ostentacyjną poufalskość, ale do pewnego stopnia i szczerą prostotę.

Aby wrócić do tych wyroków pani de Guermantes — sztucznych i emocjonujących niby decyzje polityków — Oriana nie mniej niepokoiła Guermantów, Courvoisierów, całe faubourg, a bardziej niż kogokolwiek księżnę Parmy, swymi nieoczekiwanymi dekretami, kryjącymi zasady, które tym bardziej zaskakiwały, im mniej się ich spodziewano. Kiedy nowy poseł grecki dawał bal maskowy, każdy obmyślał kostium i wszyscy zastanawiali się, jaki będzie kostium Oriany. Jeden myślał, że zechce być księżną burgundzką, drugi stawiał hipotezę księżniczki Dujabaru, trzeci — Psyche<sup>693</sup>. Wreszcie któraś Courvoisier spytała: „Za kogo ty będziesz, Oriano?”, wywołując jedyną odpowiedź, która nie przyszłaby jej na myśl: „Ależ za nikogo!”, co wprawiło w ruch języki, jak gdyby odsłaniając pogląd Oriany na istotną światową pozycję nowego posła i na postępowanie, jakiego się należy trzymać wobec niego, to znaczy opinię, którą powinno się było przewidzieć; mianowicie, że księżna „jako taka” nie ma co robić na balu maskowym u tego nowego posła.

— Nie widzę konieczności chodzenia do posła greckiego, którego nie znam; nie jestem Greczynką, po co miałabym się tam tłuc, nie mam tam nic do roboty — mówiła księżna.

— Ależ wszyscy tam idą, zdaje się, że to będzie uroczyste! — wykrzyknęła pani de Gallardon.

— Siedzieć sobie spokojnie przy kominku też jest uroczyste — odpowiedziała pani de Guermantes.

Courvoisierowie nie mogli ochłonąć, ale Guermantowie, mimo iż nie naśladowali Oriany, pochwalali ją:

— Oczywiście, nie wszyscy mają sytuację taką jak Oriana, aby mogli łamać wszelkie zwyczaje. Ale, z drugiej strony, nie można powiedzieć, aby ona nie miała racji, chcąc okazać, że my przesadzamy, płaszcząc się przed tymi cudzoziemcami, o których często się nie wie, skąd się biorą.

Rzecz prosta, iż wiedząc, co za komentarze wywoła niechybnie taki lub inny jej postępek, pani de Guermantes znajdowała tyleż przyjemności w tym, aby się zjawić na balu, gdzie nie śmiano liczyć na jej obecność, co aby zostać w domu lub spędzić wieczór z mężem w teatrze w dniu zabawy, „gdzie będą wszyscy”, lub kiedy myślano, że ona zaćmi najpiękniejsze diamenty historycznym diademem, wejść bez żadnego klejnotu i w stroju odmiennym od tego, jaki uważano niesłusznie za obowiązujący. Mimo że była antydreyfusistką (wierząc w niewinność Dreyfusa, tak samo jak wiodła życie światowe, wierząc tylko w życie myśli), sprawiła ogromne wrażenie na wieczorze księżnej de Ligne najpierw tym, że siedziała, gdy wszystkie damy wstały na wejście generała Mercier<sup>694</sup>, a potem wstając i wołając ostentacyjnie swoją służbę, kiedy nacjonalistyczny orator rozpoczął wykład, przez co księżna okazała, że nie uważa salonu za miejsce odpowiednie do uprawiania polityki. Podobnie wszystkie głowy obróciły się ku niej na wielkopiątkowym

<sup>693</sup> *Psyche* (mit. gr.) — ukochana Erosa, boga miłości, wyobrażana w postaci dziewczyny o skrzydłach motyla; oznaczała też duszę ludzką. [przypis edytorski]

<sup>694</sup> *Mercier, Auguste* (1833–1921) — francuski generał, minister wojny (1893–1895) w czasach sprawy Dreyfusa; zdecydował o winie Dreyfusa; pozbawiony stanowiska po tym, gdy zażądał zniszczenia tajnych akt w tej sprawie. [przypis edytorski]

koncercie, skąd, mimo iż wolterianka, wyszła, bo uważała za nieprzyzwoite wprowadzanie na scenę Chrystusa. Wiadomo, czym jest, nawet dla największych dam, moment, kiedy się zaczynają zabawy; tak dalece, że margrabina d'Amoncourt, która z potrzeby paplania, z manii psychologizowania, a także z braku serca często dogadywała się do głupstwa, mogła odpowiedzieć komuś, kto przyszedł do niej z kondolencją z powodu śmierci jej ojca, pana de Montmorency: „Tak, to bardzo smutne: takie nieszczęście w chwili, gdy człowiek ma na biurku setkę zaproszeń!”. Otóż w tym momencie, kiedy zapraszano księżnę de Guermantes na jakiś obiad, spiesząc się, aby nie była już zajęta, ona odmawiała dla tej jednej przyczyny, o której światowiec nigdy by nie pomyślał: puszczała się jachtem zobaczyć fiordy norweskie, które ją interesowały. Światowcy osłupieli; mimo iż nie zamierzali naśladować księżnej, postępek jej sprawił im rodzaj ulgi, podobnej do tej, jaką nam daje Kant<sup>695</sup>, kiedy po najściślejszym dowodzie determinizmu stwierdza, iż ponad światem konieczności istnieje świat wolności. Wszelki pomysł, na który by się nigdy nie wpadło, podnieca nawet tych, co z niego nie umieją korzystać. Wynalazek statków parowych był drobniactwem wobec korzystania ze statków parowych we wrogim turystyce okresie *seasonu*<sup>696</sup>. Myśl, że można się dobrowolnie wyrzec stu obiadów lub śniadań, dubeltowej liczby „herbatek”, potrójnej rautów, najświetniejszych poniedziałków w Operze i wtorków w Komedi Francuskiej po to, aby oglądać fiordy, wydała się Courvoisierom równie niepojęta jak *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*<sup>697</sup>, ale dała im to samo wrażenie swobody i uroku. Toteż nie było dnia, w którym by się nie rozlegało nie tylko: „Czy znasz ostatnie powiedzenie Oriany?”, ale: „Czy znasz ostatni pomysł Oriany?”. I o ostatnim pomysle Oriany, jak o ostatnim powiedzeniu Oriany, powtarzano: „To cała Oriana!”, „To wykapana Oriana” albo: „To najczystsza Oriana”. Ostatnim pomysłem Oriany było na przykład to, że mając odpowiedzieć imieniem<sup>698</sup> jakiegoś towarzystwa patriotycznego kardynałowi X..., biskupowi Mâcon (którego, mówiąc o nim, pan de Guermantes nazywał stale: „pan de Mascon”, bo to się wydawało księciu bardzo *vieille France*<sup>699</sup>), kiedy każdy starał się sobie wyobrazić, jak list będzie zredagowany, i z łatwością znajdował pierwsze słowa: „Eminencjo” lub „Wasza Dostojność”, ale nie umiał wybrnąć z reszty, list Oriany ku zdumieniu wszystkich zaczynał się od: „Panie Kardynale”, z racji starego akademickiego obyczaju, lub od: „Mój Kuzynie”, ile że ten termin praktykowany był między książętami Kościoła, Guermantami i panującymi, przy czym prosili Boga, aby miał adresata „w swojej świętej i godnej pieczy”. Na to, by mówiono o „ostatnim pomysle Oriany”, wystarczyło, aby na przedstawieniu, gdzie był cały Paryż i gdzie grano bardzo ładną sztukę, kiedy szukano pani de Guermantes w łożu księżnej Parmy, księżnej Gilbertowej lub w tyłu innych łożach, do których ją proszono, odkryto ją samotnie, w czarnej sukni i w małym kapelusiku, w fotelu, gdzie siedziała już od *lever du rideau*<sup>700</sup>. „Lepiej stamtąd słyhać, więc skoro zdarza się sztuka, która jest tego warta...” — tłumaczyła się wobec zgorznienia Courvoisierów, a zachwytu Guermantów i księżnej Parmy, którzy odkrywali nagle, że „styl” słuchania sztuki od początku jest bardziej nowy, wyraża więcej oryginalności i inteligencji (co nie mogło zbytnio dziwić ze strony Oriany) niż przychodzenie na ostatni akt po wielkim obiedzie oraz raucie odrobionym po drodze.

Takie były rozmaite rodzaje zdumienia, jakich księżna Parmy mogła się spodziewać, jeśli zagadnęła panią de Guermantes o jakąś kwestię światową lub literacką, co sprawiało, że podczas tych obiadów u księżnej Oriany jej królewska wysokość puszczała się na najbłahszy temat jedynie z niespokojną i zachwyconą ostrożnością osoby kąpiącej się przy silnej fali.

Wśród elementów odróżniających salon pani de Guermantes od paru innych mniej więcej równorzędnych i tworzących szczyty Faubourg Saint-Germain (jak Leibniz przyjmuje, że każda monada, odbijając cały wszechświat, przydaje mu coś osobistego) jeden z najmniej sympatycznych składników stanowiło zazwyczaj parę bardzo pięknych kobiet,

<sup>695</sup>Kant, *Immanuel* (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

<sup>696</sup>season (ang.) — pora roku; sezon. [przypis edytorski]

<sup>697</sup>*Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* — powieść przygodowa i fantastyczno-naukowa Juliusza Verne'a, wyd. 1869–1870. [przypis edytorski]

<sup>698</sup>odpowiedzieć imieniem — tu: odpowiedzieć w imieniu. [przypis edytorski]

<sup>699</sup>vieille France (fr.) — stara Francja. [przypis edytorski]

<sup>700</sup>lever du rideau (fr.) — podniesienie kurtyny. [przypis edytorski]

niemających innego tytułu obecności prócz swojej urody i sposobu, w jaki z niej korzystał pan de Guermantes. Obecność ich zdradzała natychmiast — jak w innych salonach podejrzane obrazki — że w tym domu mąż jest gorącym miłośnikiem wdzięków niewieścich. Wszystkie te damy były do siebie trochę podobne, bo książę miał gust do kobiet dużych, majestatycznych i swobodnych zarazem, coś pośredniego między *Wenus miłoską*<sup>701</sup> a *Wiktoria z Samotrake*<sup>702</sup>; często blondynki, rzadko brunetki, czasem rude, jak najświeższa zdobycz znajdująca się na tym obiedzie, owa wicehrabina d'Arpajon, którą książę kochał tak namiętnie, że przez długi czas zmuszał ją do dziesięciu depesz dziennie (co trochę drażniło księżnę), korespondował z nią za pomocą gołębi pocztowych, kiedy był w Guermantes, i bez której przez długi czas tak był niezdolny się obejść, że pewnej zimy, którą musiał spędzić w Parmie, wracał co tydzień do Paryża, spędzając dwa dni w podróży, aby ją zobaczyć.

Zazwyczaj te piękne figurantki były kochankami księcia dawniej, ale nie były już nimi w tej chwili (to była właśnie sytuacja pani d'Arpajon) lub miały niebawem przestać być nimi. Może urok, jaki miała w ich oczach księżna Oriana, oraz nadzieja znalezienia się w jej salonie (mimo iż same należały do sfer bardzo arystokratycznych, ale drugoplanowych) kazały im, bardziej jeszcze niż uroda i hojność księcia, ulec jego pragnieniom. Zresztą księżna nie przeciwstawiała się absolutnie wpuszczeniu ich do swego domu; wiedziała, że w niejednej z tych kobiet znalazła sprzymierzeńca, że dzięki niej uzyskiwała tysiąc rzeczy, na które miała ochotę, a których pan de Guermantes odmawiał bezlitośnie żonie, póki nie był zakochany w innej. Toteż fakt, iż panie te dostawały się do salonu księżnej dopiero w późnej fazie swego miłosnego stosunku, tłumaczył się tym, że książę za każdym razem, kiedy się rzucał w wielką miłość, uważał to raczej za zwykłą miłośćkę, dla której zaproszenie do salonu żony zdawało mu się zbyt wysoką ceną. Zdarzało się zresztą, że ofiarowywał tę cenę za znacznie mniej; za pierwszy pocałunek, bo się spotkał z nieoczekiwanym oporem lub bo, przeciwnie, wcale nie znalazł oporu. Wdzięczność, chęć zrobienia przyjemności każą w miłości często obdarzać ponad to, co przyrzekły nadzieja i interes.

Ale wówczas ziszczeniu tego daru stawały na przeszkodzie inne okoliczności. Po pierwsze, wszystkie kobiety, które odwzajemniły miłość pana de Guermantes (czasem nawet zanim mu jeszcze uległy), były kolejno przez niego internowane. Nie pozwalał im widywać nikogo, spędzał przy nich prawie wszystek czas, zajmował się wychowaniem ich dzieci, którym czasami, jeżeli sądzić o tym z krzyżących podobieństw, zdarzało się księciu przydać brata lub siostrę. Następnie, o ile w początkach stosunku miłosnego zbliżenie z panią de Guermantes — bynajmniej niezamierzone przez księcia — odegrało jakąś rolę w intencjach kochanki, sam stosunek zmienił jej punkt widzenia; książę stawał się dla niej już nie mężem najmodniejszej kobiety w Paryżu, ale człowiekiem, którego świeża kochanka kochała; człowiekiem również, który często dostarczał jej środków zbytku oraz obudził zamięłowanie do zbytku; który przewrócił dawny porządek pierwszeństwa w sprawach snobizmu i interesu; czasami wreszcie wszelkiego rodzaju zazdrość o panią de Guermantes trawiła kochanki księcia. Ale ten wypadek był najrzadszy; zresztą, kiedy dzień prezentacji nadszedł wreszcie (zazwyczaj w chwili gdy dana osoba była już dość obojętna księciu, którego uczynki, jak bywa u wszystkich ludzi, częściej dyktowane były uczynkami poprzednimi niż właściwym bodźcem, który już nie istniał), zdarzało się często, że to pani de Guermantes pragnęła zbliżenia z kochanką, w której spodziewała się znaleźć ceną, a tak bardzo potrzebną aliantkę przeciw swemu straszliwemu małżonkowi. Nie znaczy to, aby — z wyjątkiem rzadkich chwil, w których kiedy księżna mówiła za dużo, księciu wymykały się w domu słowa, a zwłaszcza milczenia, które ją piorunowały — pan de Guermantes chybiał w stosunku do żony tak zwanym formom. Ludzie, którzy nie znali księstwa, mogliby się omylić. Czasami w jesieni, między wyścigami w Deauville, wodami a wyjazdem do Guermantes w okresie polowań, w czasie kilku tygodni, które

<sup>701</sup> *Wenus miłoska*, dziś zwykle: *Wenus z Milo* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z II w. p.n.e., przedstawiająca grecką boginię miłości Afrodytę (rzymska *Wenus*), znaleziona na wyspie Milos w 1820; od 1821 znajduje się w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

<sup>702</sup> *Wiktoria z Samotrake*, dziś zwykle: *Nike z Samotraki* — hellenistyczna marmurowa rzeźba z III lub II w. p.n.e., przedstawiająca uskrzydloną Nike, grecką boginię zwycięstwa, znaleziona w 1863 na wyspie Samotraka; od 1884 eksponowana w paryskim Luwrze. [przypis edytorski]

spędza się w Paryżu, księżę towarzyszył żonie do *café-concert*, które lubiła. Publiczność spostrzegła natychmiast w jednej z owych łózek, gdzie jest miejsce tylko na dwoje, tego Herkulesa w „smokingu” (skoro we Francji daje się wszelkiej rzeczy, mniej lub więcej brytyjskiej, nazwę, jakiej ta rzecz nie nosi w Anglii), z monokłem w oku, puszczającego od czasu do czasu kłęb dymu z wielkiego cygara tkwiącego w grubej, ale pięknej ręce, na której obrączkowym palcu błyszczał szafir. Spojrzenie księcia zazwyczaj zwracało się ku scenie, ale kiedy je kierował na salę, gdzie nie znał zresztą absolutnie nikogo, łagodził je wyraz słodczy, dyskrecji, uprzejmości, poważania. Kiedy kuplet<sup>703</sup> wydał mu się zabawny, a niezbyt sprośny, obracał się z uśmiechem do żony, aby, z wyrazem porozumiewawczej dobroci, podzielić z nią niewinną wesołość czerpaną z nowej piosenki. Kiedy księżna czuła się zmęczona, pan de Guermantes wstawał, podawał jej płaszcz, poprawiając naszyjniki, aby się nie zahaczyły o podszewkę, torował jej drogę z pełnymi szacunku względami, które ona przyjmowała z chłodem światowej lali, widzącej w tym jedynie prostą formę, czasem nawet z ironiczną nieco goryczą zawiedzionej małżonki, która nie ma już żadnych złudzeń; ale widzowie mogli przypuszczać, że nie ma w świecie lepszego męża niż księżę ani osoby godniejszej zazdrości niż ta kobieta, poza którą on mieścił wszystkie zainteresowania swego życia, której nie kochał, której nigdy nie przestawał zdradzać. Mimo tych pozorów (będących inną fizjonomią owej grzeczności, która przesunęła obowiązki z głębi na powierzchnię w pewnej epoce już odległej, ale żywej jeszcze dla jej potomków) życie księżnej bywało ciężkie. Pan de Guermantes stawał się z powrotem szczodry i ludzki jedynie dla miłości nowej kochanki, która brała najczęściej stronę księżnej; znów otwierały się przed Orianą widoki hojności dla niższych, miłosierdzia dla ubogich, a nawet później, dla niej samej, nowego i wspaniałego samochodu. Nie znaczy to, aby kochanki księcia były zabezpieczone od irytacji rodzącej się zazwyczaj dość szybko w pani de Guermantes z oswojenia z osobami, które były w stosunku z nią nazbyt uległe. Niebawem księżna brzydziła je sobie. Otóż w tej chwili właśnie stosunek księcia z panią d'Arpajon zbliżał się ku końcowi. Nowa kochanka była na horyzoncie.

Niewątpliwie, miłość, jaką pan de Guermantes płonął kolejno do wszystkich tych kobiet, dochodziła pewnego dnia znów do głosu. Miłość ta, umierając, zapisywała te kobiety, niiby piękne marmury — piękne dla księcia, który stawał się w ten sposób po trosze artystą, ponieważ je niegdyś kochał, a teraz był wrażliwy na formy, których nie byłby ocenił bez miłości — grupujące w salonie księżnej swoje kształty, długo wrogie, pożerane zazdrościami i kłótniami, wreszcie pojednane w pokoju przyjaźni. I sama ta przyjaźń była następstwem miłości, która pozwoliła panu de Guermantes spostrzec w swoich kochankach przymioty istniejące w każdym człowieku, ale wyczuwalne jedynie dla rozkoszy; tak iż dawna kochanka, przeobrażona w „najlepszego kolegę, który zrobiłby dla nas wszystko”, jest istnym frazesem, jak lekarz lub ojciec niebędący lekarzem ani ojcem, ale przyjacielem. Ale w pierwszym okresie kobieta, którą pan de Guermantes zaczynał zaniedbywać, skarżyła się, robiła sceny, była wymagająca, niedyskretna, swarliwa. Księżę zaczynał mieć jej dość. Wówczas pani de Guermantes miała możliwość wydobywać na światło prawdziwe lub urojone wady osoby, która ją drażniła. Znana ze swej dobroci, pani de Guermantes przyjmowała telefony, zwierzenia, lży opuszczonej i nie skarżyła się na to. Śmiała się z tego z mężem, potem z paroma bliskimi; sądziła, iż współczucie, jakie okazuje nieszczęśliwej, daje jej prawo bawić się trochę jej kosztem, nawet w jej obecności. I za każdym odezwaniem się tej kobiety, o ile ono potwierdzało charakter śmieszności, w jaką oboje księstwo świeżo ją ustroiło, pani de Guermantes, nie krępując się, wymieniała z mężem ironiczne i porozumiewawcze spojrzenia.

Siadając do stołu, księżna Parmy przypomniała sobie, że miała zaprosić do Opery księżnę d'Heudicourt; chcąc wiedzieć, czy to nie wystraszy Oriany, starała się ją wy badać.

W tej chwili wszedł pan de Grouchy, którego pociąg wskutek jakiegoś wypadku spóźnił się o godzinę. Wy tłumaczył się, jak mógł. Gdyby jego żona była z domu Courvoisier, umarłaby ze wstydu. Ale pani de Grouchy nie darmo była Guermantką. Kiedy mąż tłumaczył się ze spóźnienia, rzekła:

— Widzę, że spóźniać się nawet w drobnych rzeczach jest tradycją w waszej rodzinie.

<sup>703</sup>kuplet — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem, występująca jako element wodewilu i operetki a. samodzielna forma kabaretowa. [przypis edytorski]

— Siadaj, Grouchy, nie daj się zbić z pantalyku — rzekł książę.

— Idąc z duchem czasu, zmuszona jestem uznać, że bitwa pod Waterloo<sup>704</sup> miała swoje dobre strony, skoro przywróciła Francji Burbonów, co więcej, w sposób, który im zapewnił niepopularność. Ale widzę, że pan jest prawdziwy Nemrod<sup>705</sup>!

— Ustrzeliłem w istocie parę ładnych sztuk. Pozwolę sobie przesłać jutro książęcej tuzin bażantów.

Zdawało się, że jakaś myśl odbiła się w oczach pani de Guermites. Prosiła, aby pan de Grouchy nie trudził się przysyłaniem bażantów. Dając znak owemu zaręczonemu lokajowi, z którym rozmawiałem, wychodząc z sali z Elstirami, rzekła:

— Poullein, pojedziesz jutro po bażanty do pana hrabiego i przywieziesz je zaraz tutaj. Prawda, panie Grouchy, pan nie ma nic przeciw temu, abym zrobiła grzeczność paru osobom. Nie zjemy we dwójkę z Błażem dwunastu bażantów na raz.

— Ależ pojutrze zupełnie wystarczy — rzekł pan de Grouchy.

— Nie, wolę jutro — zdecydowała księżna.

Poullein zbladł: schadzka z narzeczoną spaliła na panewce. To wystarczyło, aby ściągnąć uwagę księżnej, która dbała, aby wszystko zachowało znamiona ludzkości.

— Wiem, że jutro jest twój wolny dzień — rzekła do Poulleina — zamienisz się po prostu z Jerzym, który wyjdzie jutro, a zostanie pojutrze.

Ale pojutrze narieczona Poulleina nie była wolna, nie zależało mu na tym dniu. Z chwilą gdy Poullein opuścił pokój, wszyscy zaczęli komplementować księżnę za jej dobroć dla służby.

— Ależ ja postępuję z nimi tylko tak, jak chciałabym, aby ludzie postępowali ze mną.

— Właśnie! To fakt, że oni mają tu dobre miejsca!

— Nie takie nadzwyczajne. Ale sądzę, że mnie lubią. Ten chłopak jest trochę nieznośny, bo jest zakochany; czuje się w obowiązku stroić melancholijne miny.

W tej chwili Poullein wrócił.

— W istocie — rzekł pan de Grouchy — nie robi wrażenia zbytniej pogody ducha. Z nimi trzeba być dobrym, ale nie za dobrym.

— Uznaję, że ja nie jestem tyranka; w ciągu całego dnia ma tylko pojechać po pańskie bażanty, siedzieć tu po próżnicy i zjeść swoją porcję.

— Dużo ludzi chciałoby być na jego miejscu — rzekł pan de Grouchy, bo zawiść jest ślepa.

— Oriano — rzekła księżna Parmy — miałam któregoś dnia wizytę twojej kuzynki d'Heudicourt; trzeba przyznać, że to jest kobieta o niepospolitej inteligencji; prawdziwa Guermites, to mówi wszystko; ale powiadają, że ma zły język.

Książę spojrział na żonę z rozmyslnym zdziwieniem. Pani de Guermites zaczęła się śmiać. Księżna Parmy spostrzegła to w końcu.

— Ależ... czy ty nie jesteś... mojego zdania?... — spytała, niespokojna.

— Doprawdy, jej wysokość jest zbyt łaskawa, aby się zajmować minami Błażeja. Słuchaj, Błażeju, nie podsuwaj złych myśli o naszych krewnych.

— Uważa, że jest taka zła? — spytała żywo księżna Parmy.

— Och, wcale nie. Nie wiem, kto waszej wysokości opowiedział, że ona ma zły język. To, przeciwnie, wyborna istota, która nigdy źle nie mówiła o nikim ani nie zrobiła nikomu nic złego.

— A! — rzekła księżna Parmy z ulgą. — Ja także nie zauważyłam niczego podobnego. Ale ponieważ wiem, że często trudno jest nie być trochę złośliwą, kiedy się jest tak dowcipną...

— Dowcipną? To chyba jeszcze mniej.

— Jeszcze mniej?... — spytała księżna Parmy, zdumiona.

— Słuchaj, Oriano — przerwał książę bolesciwym tonem, rzucając na prawo i lewo rozbawione spojrzenia — słyszysz przecie, jej wysokość powiada, że to jest kobieta niepospolita.

<sup>704</sup>bitwa pod Waterloo (18 czerwca 1815) — stoczona na terenie Belgii ostatnia bitwa cesarza Napoleona Bonapartego, w której armia francuska została zniszczona przez koalicyjne wojska angielskie Wellingtona i wojska pruskie Blüchera; w wyniku klęski Napoleon abdykował, co zakończyło okres rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>705</sup>Nemrod (bibl.) — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

— Czyż nie jest?...

— Jest co najmniej niepospolicie gruba.

— Niech go księżna nie słucha, on nie jest szczerzy, ona jest głupia jak gęś (gęś) — rzekła mocnym i zachrypłym głosem pani de Guermantes, która, jeszcze bardziej *vieille France* niż księżę, kiedy się na to nie siliła, starała się często przybierać ten ton, nie w przestarzałym stylu żabotów i koronek swego męża, ale w istocie o wiele subtelniejszy przez akcent niemal chłopski, mający ostrą i rozkoszną woń ziemi. — Ale to najlepsza kobieta pod słońcem. I nie wiem nawet, czy głupota w tym stopniu może się jeszcze nazywać głupotą. Nie sędzę, abym kiedy widziała coś podobnego: to *casus*<sup>706</sup> lekarski, coś patologicznego, rodzaj idiotki, kretynki, niedorozwiniętej, jak w melodramach albo jak w *Arlésienne*<sup>707</sup>. Kiedy ona jest tutaj, pytam się zawsze, czy nadeszła chwila, w której jej inteligencja się zbudzi, co zawsze przeraża trochę.

Księżna Parmy była olśniona tymi określeniami, zarazem zdumiona wyrokiem:

— Cytowała mi, zarówno jak pani d'Épinay, twojego Takiniusza Pysznego. To rozkoszne — powiedziała.

Pan de Guermantes objaśnił ten dowcip. Miałem ochotę zwierzyć się mu, że jego brat, który twierdził, że mnie nie zna, czeka na mnie o jedenastej. Ale nie spytałem się Roberta, czy mogę mówić o tej schadzce, że zaś fakt, iż pan de Charlus niemal mi ją naznaczył, był w sprzeczności z tym, co powiedział księżnej, uznałem za właściwsze zachować milczenie.

— Takiniusz Pyszny jest niezły — rzekł pan de Guermantes — ale pani d'Heudicourt nie opowiedziała prawdopodobnie waszej wysokości czegoś o wiele ładniejszego, co Oriana powiedziała jej innym razem, w odpowiedzi na zaproszenie na śniadanie.

— Och, nie, proszę opowiedzieć!

— Słuchaj, Błażeju, siedź cicho; po pierwsze, to jest idiotyczne; księżna gotowa przypuszczać, że jestem jeszcze głupsza niż ta idiotka, moja kuzynka. A potem, nie wiem, czemu ja mówię: „moja kuzynka”. To jest kuzynka Błażeja. No, jest zarazem trochę i moją krewną.

— Och! — wykrzyknęła księżna Parmy przerażona myślą, że mogłaby uważać panią de Guermantes za głupią, i zaklinając się, że nic nie zdołałoby pozbawić Oriany miejsca, jakie zajmuje w jej podziwiewie.

— A przy tym jużemy jej odjęli zalety ducha; ponieważ ta anegdota grozi odjęciem jej niektórych zalet serca, wydaje mi się nie na czasie.

— „Grozi odjęciem”! „Nie na czasie”! Jak ona się dobrze wyraża! — rzekł księżę z udaną ironią, aby wzbudzić podziw dla Oriany.

— Słuchaj, Błażeju, nie kpj sobie ze swojej żony.

— Trzeba powiedzieć waszej królewskiej wysokości — podjął księżę — że kuzynka Oriany jest niepospolita, dobra, gruba, wszystko, co kto chce, ale nie jest specjalnie... jak by to powiedzieć... rozrzutna.

— Tak, wiem, jest straszliwa kutwa — wtrąciła księżna Parmy.

— Nie byłbym sobie pozwolił na to określenie, ale jej wysokość trafiła w sedno. To się wyraża w trybie jej domu, a w szczególności w jej kuchni, która jest wyborna, ale ściśle odmierzona.

— To daje nawet powód do scen dosyć komicznych — przerwał pan de Bréauté. — Wiesz, Błażeju, pojechałem raz do Heudicourt w dniu, gdy spodziewano się tam Oriany i ciebie. Poczyniono wspaniałe przygotowania, kiedy w ciągu popołudnia lokaj przyniósł depeszę, że nie przyjedziecie.

— To mnie nie dziwi — rzekła księżna Oriana, która nie tylko niełatwo się udzielała, ale lubiła, aby to wiedziano.

— Twoja kuzynka czyta telegram, martwi się, po czym natychmiast, nie tracąc przytomności umysłu i powiadając sobie, że nie potrzeba zbytecznych szyków dla faceta bez znaczenia jak ja, odwołuje lokaja: „Powiedz kucharzowi, żeby wstrzymał kurczętą”, krzyczy. A wieczorem słyszałem, jak pytała kamerdynera: „No i co, a resztki wczorajszej wółwiny? Nie podajecie ich?”.

<sup>706</sup>*casus* (łac.) — przypadek; sprawa. [przypis edytorski]

<sup>707</sup>*L'Arlésienne* (fr.) — *Arlezianka*, opowiadanie Alphonse Daudeta (1840–1897), francuskiego pisarza i poety z Prowansji; w 1872 przerobione przez autora na dramat, wystawiony z muzyką Georges'a Bizeta. [przypis edytorski]



— Zresztą trzeba przyznać, że strawa jest tam doskonała — rzekł książę, który sądził, iż używając tego wyrażenia, okaże się *ancien régime*. — Nie znam domu, gdzie jadłoby się lepiej.

— I mniej — przerwała księżna.

— To bardzo zdrowo i bardzo wystarczająco dla takiego prostaka jak ja; człowiek zachowuje apetyt.

— A, jeżeli kuracja, to co innego. Jest to niewątpliwie bardziej higieniczne niż luksusowe. Zresztą nie je się tam wcale tak dobrze — dodała pani de Guermantes, która nie bardzo lubiła, aby tytuł „najlepszej kuchni w Paryżu” przyznawano innej kuchni niż jej własnej. — Z moją kuzynką to jest po trosze tak jak z autorami cierpiącymi na obstrukcję<sup>708</sup>, którzy rodzą co piętnaście lat jednoaktówkę lub sonet. Wówczas nazywa się to „małe arcydzieło”, istny „klejnocik”, słowem, rzecz, której najbardziej nie znoszę. Kuchnia u Zenajdy nie jest zła, ale nie wydawałaby się tak wykwintna, gdyby była mniej oszczędna. Są rzeczy, które jej kucharz robi dobrze, i inne, które partoli. Trafiłam tam, jak gdzie indziej, na bardzo liche obiady, ale mniej mi zaszkodziły niż gdzie indziej, bo żołądek jest w gruncie wrażliwszy na ilość niż na jakość.

— Słowem — zakonkludował książę — Zenajda nalegała, aby Oriana przyszła do niej na śniadanie; że zaś żona nie bardzo lubi wychodzić z domu, broniła się, wypytywała, czy pod pozorem małego śniadania nie wpakują jej podstępnie w wielkie tralala, i starała się na próżno wywiedzieć, kto tam właściwie ma być. „Przyjdź, przyjdź — nalegała Zenajda, zachwalając menu. — Dostaniesz *purée* z kasztanów, paluszki lizać, a przedtem będzie siedem małych *bouchées à la reine*<sup>709</sup>”. „Siedem! — krzyknęła Oriana — w takim razie będzie nas co najmniej ośmioro”.

Po upływie kilku chwil księżna Parmy, zrozumiawszy, parsknęła śmiechem podobnym do grzmotu.

— A, „będzie nas ośmioro”, to cudowne! Jak to dobrze zredagowane! — rzekła, odnalazszy w swojej ekstazie wyrażenie, którego użyła pani d'Épinay i które lepiej się nadało tym razem.

— Oriano, to bardzo ładne, co powiada jej wysokość; mówi, że to jest dobrze zredagowane.

— Ależ, mój drogi, nie powiadasz mi nic nowego; ja wiem, że księżna Parmy jest inteligentna — odparła pani de Guermantes, która łatwo uznawała jakieś powiedzenie, kiedy zarazem padło z ust królewskiej wysokość i podkreślało jej własny dowcip. — Jestem bardzo dumna, że jej wysokość aprobejuje moje skromne redakcje. Zresztą, nie przypominam sobie, abym to powiedziała. A jeżeli powiedziałam, to po to, aby pochlebić kuzynce, bo skoro ona powiedziała siedem *bouchées*<sup>710</sup>, ilość gąb, o ile wolno się tak wyrazić, przekraczałyby dwanaście.

Tymczasem hrabina d'Arpajon, od której przed obiadem usłyszałem, że jej ciotka tak byłaby rada widzieć mnie u siebie w Normandii, mówiła mi teraz ponad głową księcia d'Agrigente, że bardzo by chciała ugościć mnie w Côte d'Or, bo tam, w Pont-le-Duc, ma swoją rodową siedzibę.

— Bardzo by pana zainteresowało archiwum zamkowe. Znajdują się w nim niesłychanie ciekawe zbiory listów pisanych przez najwybitniejsze osobistości siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku. Spędzam nad nimi cudowne godziny. Ja żyję przeszłością — zapewniła mnie hrabina, którą pan de Guermantes scharakteryzował mi jako wielką znawczynię literatury.

— Posiada wszystkie rękopisy pana de Bornier — podjęła księżna Parmy, która starała się zgromadzić słuszne racje, usprawiedliwiające jej zażyłość z panią d'Heudicourt.

— Musiało się jej przyśnić; sądzę, że go nawet nie znała — rzekła pani de Guermantes.

— Co jest zwłaszcza interesujące, to, że ta korespondencja pochodzi od ludzi z różnych krajów — dodała hrabina d'Arpajon, która, spokrewniona z pierwszymi domami książęcymi, a nawet panującymi Europy, szczęśliwa była, że może to przypomnieć.

<sup>708</sup>obstrukcję (med.) — zatwardzenie. [przypis edytorski]

<sup>709</sup>*bouchées à la reine* (fr.) — dosł.: przekąski królowej; paszteciki z ciasta francuskiego faszzerowane mięsem. [przypis edytorski]

<sup>710</sup>*bouchée* (fr.) — kęs, kasek. [przypis edytorski]

— Ależ tak, Oriano — rzekł pan de Guermantes nie bez intencji. — Przypominasz sobie ten obiad, na którym pan de Bornier<sup>711</sup> siedział koło ciebie.

— Ach, Błażeju — przerwała pani de Guermantes — jeżeli chcesz mi powiedzieć, że znała pana de Bornier, oczywiście, że go znałam, parę razy nawet odwiedził mnie, ale nigdy się nie mogłam zdobyć na to, aby go zaprosić, bo trzeba by mi za każdym razem dezynfekować salon formaliną. Co do tego obiadu, przypominam go sobie bardzo dobrze; to nie było wcale u Zenajdy, która w życiu nie widziała na oczy pana de Bornier i która musi przypuszczać, kiedy ktoś mówi o *Córce Rolanda*, że chodzi o księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego<sup>712</sup>; nie, to było w ambasadzie austriackiej. Przemily Hoyos myślał, że mnie uszczęśliwi, sadzając obok mnie tego zapowietrzonego akademika. Musiałam sobie zatykać nos, jak mogłam, przez cały obiad; odważyłam się odetchnąć aż przy rokforze<sup>713</sup>.

Pan de Guermantes, który osiągnął swój tajemny cel, badał ukradkiem na twarzy gości efekt dowcipu żony.

— Korespondencja ma zresztą dla mnie szczególny urok — ciągnęła, oddzielona ode mnie twarzą księcia d'Agrigente, znawczyni literatury, posiadająca tak ciekawe listy w swoim zamku.

— Czyście państwo nie zauważyli, że listy pisarza są często więcej warte niż cała jego twórczość? Jakże się nazywał ten, co napisał *Salammbô*<sup>714</sup>?

Nie miałem ochoty odpowiedzieć, żeby nie przedłużać tej rozmowy, ale zdałem sobie sprawę, że dotknąłbym księcia d'Agrigente, który zrobił minę, jak gdyby doskonale wiedział, kto jest autorem *Salammbô*, i tylko przez grzeczność czekał, żebym to ja wymienił jego nazwisko, sam jednak zdradzał straszliwe zakłopotanie.

— Flaubert — odparłem wreszcie, ale przytakujący ruch głowy, jaki jednocześnie zrobił książę, sprawił, że powiedziałem to niewyraźnie i moja rozmówczyni sama nie wiedziała dokładnie, czy usłyszała Paul Bert, czy też Flaubert, i ani jedno, ani drugie nazwisko nie zadowoliło jej całkowicie.

— W każdym razie — powiedziała — jaka ciekawa jest ta korespondencja i o ile więcej warta od jego książek! Ona poza tym pozwala go zrozumieć, bo z tego, co on mówi o trudnościach, jakie miał przy pisaniu książek, widać, że to nie był prawdziwy pisarz, człowiek z talentem.

— Mówicie państwo o korespondencji, mnie się wydają urocze listy Gambetty — rzekła pani de Guermantes, która nie obawiała się interesować proletariuszem i radykałem.

Pan de Bréauté zrozumiał całą wartość tej odwagi, powiódł dokoła okiem równocześnie zamglonym i rozczulonym, po czym przetarł monokl.

— Mój Boże, to diabelnie nudne, ta *Córka Rolanda* — rzekł książę de Guermantes, który nadal tkwił przy panu de Bornier, z zadowoleniem, jakie mu dawało poczucie własnej wyższości nad dziełem, przy którym się tak nudził; może także przez *suave mari magno*<sup>715</sup>, jakiego doświadczamy przy dobrym obiedzie, wspominając sobie tak straszliwe wieczory. — Ale jest tam parę niezłych wierszy, jest poczucie narodowe.

Wtrąciłem, że się przynajmniej nie zachwyam panem de Bornier.

— A, ma pan coś przeciw niemu? — spytał ciekawie książę, który ilekroć się mówiło źle o mężczyźnie, przypuszczał, że to musi płynąć z jakiejś osobistej urazy, a kiedy dobrze o kobiecie, że to jest początek miłości. — Widzę, że pan go ma na wątrobce. Co on panu takiego zrobił? Niech nam pan to opowie. Ależ tak, musicie mieć z sobą na pieńku, skoro pan go krytykuje. To długie, ta *Córka Rolanda*, ale to ma swój zapaszek.

<sup>711</sup>Bornier, Henri de (1825–1901) — francuski poeta i dramaturg; autor m.in. dramatu *La Fille de Roland* (*Córka Rolanda*, 1875). [przypis edytorski]

<sup>712</sup>księżniczkę Bonaparte, o której mówiono, że się zaręczyła z synem króla greckiego — Maria Bonaparte (1882–1962), jedyna córka księcia Rolanda Napoleona Bonaparte; od 1907 żona księcia Jerzego, syna greckiego króla Jerzego I. [przypis edytorski]

<sup>713</sup>rokfor a. roquefort — gatunek owczego sera o ostrym smaku. [przypis edytorski]

<sup>714</sup>*Salammbô* (fr.), pol. *Salambo* — powieść Gustawa Flauberta z 1862, której akcja rozgrywa się podczas wojny Kartagińczyków z najemnikami w III w. p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>715</sup>*suave mari magno* (łac.) — „milo wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwowac z brzegu, patrząc na trudy żeglarsza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

— „Zapaszek” to dobrze powiedziane jak na tak pachnącego autora — przerwała ironicznie pani de Guermantes.

— Jeżeli nasz biedny mały znalazł się kiedyś w jego towarzystwie, dość zrozumiałe jest, że go ma w... nosie.

— Muszę się zresztą przyznać waszej wysokości — podjął książę, zwracając się do księżnej Parmy — że, pomijając *Córkę Rolanda*, ja jestem w literaturze, nawet w muzyce, straszliwie zacofany; nie ma tak starego rupiecia, który by mi się nie podobał. Nie uwierzyłaby księżna, ale wieczorem, kiedy żona siadzie do fortepianu, często zdarza mi się prosić ją o jakąś starą melodię Aubera, Boieldieu<sup>716</sup>, nawet Beethovena! Oto, co lubię! W zamian za to, co się tyczy Wagnera, ten usypia mnie natychmiast.

— Nie masz racji — rzekła pani de Guermantes. — Przy swoich niemożliwych dłużyznach Wagner miał rzeczy genialne. *Lohengrin* jest arcydziełem. Nawet w *Tristanie* znajdują się tu i ówdzie jakieś ciekawe momenty. A *Chór prządek z Latającego Holendra* to istne чудо.

— Prawda, Babal — rzekł pan de Guermantes, zwracając się do pana de Bréauté — my wolimy:

*Les rendez-vous de noble compagnie  
Se donnent tous en ce charmant séjour.*<sup>717</sup>

— To urocze. A *Fra Diavolo*<sup>718</sup>, a *Flet zaczarowany*<sup>719</sup>, a *Chatka*<sup>720</sup>, a *Wesele Figara*<sup>721</sup>, a *Diamenty korony*<sup>722</sup>: oto muzyka! W literaturze tak samo. Na przykład ja uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża*<sup>723</sup>.

— Och, mój drogi, jeżeli wsiądziesz na Balzaca, nie skończymy tak prędko. Wiesz, zachowaj to na dzień, kiedy będzie Mémé. On jest jeszcze lepszy, umie Balzaca na pamięć.

Zirytowany przerywaniem żony, książę wytrzymał ją parę chwil pod ogniem groźnego milczenia. I jego myśliwskie oczy robiły wrażenie pary nabitych pistoletów. Tymczasem pani d'Arpajon wymieniła z księżną Parmy, w przedmiocie poezji tragicznej i innej, poglądy, które doszły do mnie wyraźniej, dopiero kiedy usłyszałem, jak pani d'Arpajon mówi:

— Och, wszystko, co wasza wysokość zechce; przyznając, że on nam pokazuje świat od brzydkiej strony, bo nie umie rozróżniać piękna i brzydoty, lub raczej, bo jego nieznośna próżność każe mu sądzić, iż wszystko, co mówi, jest piękne; godzę się z waszą wysokością, że w utworze, o którym mowa, są rzeczy śmieszne, niezrozumiałe, niesmaczne, że to jest trudne do zrozumienia, że to jest ciężkie do czytania, tak jakby było pisane po rosyjsku lub po chińsku, bo rzeczywiście tam jest wszystko z wyjątkiem francuskiego; ale kiedy sobie zadać ten trud, jakże się to oplaca: on ma tyle wyobraźni.

Nie słyszałem początku tej tyrady. Zrozumiałem w końcu nie tylko to, iż poetą „niezdolnym rozróżnić piękna od brzydoty” jest Wiktor Hugo, ale i to, że utworem tak trudnym do zrozumienia jak język rosyjski lub chiński jest:

*Lorsque l'enfant paraît, le cercle de famille*

<sup>716</sup>Boieldieu, François-Adrien (1775–1834) — francuski kompozytor, autor popularnych oper. [przypis edytorski]

<sup>717</sup>*Les rendez-vous de noble compagnie...* (fr.) — Wszystkie spotkania w szlacheckim towarzystwie odbywają się w tym uroczym miejscu (z opery komicznej *Le pré aux clercs* Ferdinanda Hérolda, z librettem François-Antoine-Eugène de Planarda, z 1832). [przypis edytorski]

<sup>718</sup>*Fra Diavolo* — opera komiczna z muzyką Daniela Aubera oraz librettem Eugène'a Scribe'a, z 1831. [przypis edytorski]

<sup>719</sup>*Flet zaczarowany* — dziś najczęściej: *Czarodziejski flet*, opera z niemieckim librettem Emanuela Schikanedera i muzyką Wolfganga Amadeusa Mozarta, z 1791. [przypis edytorski]

<sup>720</sup>*Chatka* — fr. *Le Chalet* (Chatka w górach), opera francuskiego kompozytora Adolpha Adama z librettem Eugène'a Scribe'a i Anne Honoré Josepha Mélesville'a, z 1834. [przypis edytorski]

<sup>721</sup>*Wesele Figara* — opera komiczna z 1786, z muzyką Wolfganga Amadeusza Mozarta i librettem Lorenza Da Ponte na podstawie sztuki Pierre'a Beaumarchais'go. [przypis edytorski]

<sup>722</sup>*Diamenty korony* — fr. *Les diamants de la couronne*, opera komiczna francuskiego kompozytora Daniela Aubera z librettem Eugène'a Scribe'a, z 1841. [przypis edytorski]

<sup>723</sup>uwielbiam Balzaca, *Bal w Sceaux*, *Mobikanie Paryża* — *Bal w Sceaux* jest jednym z najbliższych drobiazgowów Balzaca, *Mobikanie Paryża* nie są Balzaca [to powieść Aleksandra Dumasa, wydawana w odcinkach w latach 1854–1859; red. WL]. [przypis tłumacza]

Utwór z pierwszej epoki poety, bliższy może pani Deshoulières<sup>725</sup> niż Wiktora Hugo z *Legendy wieków*<sup>726</sup>. Daleki od tego, aby uważać panią d'Arpajon za śmieszna, ujrzałem ją (ją pierwszą przy tym stole, tak realnym, tak banalnym, gdzie usiadłem z takim rozczarowaniem), ujrzałem ją — oczami ducha — w koronkowym czepeczku, z którego wymykają się kręte pukle, jak je nosiły panie de Rémusat<sup>727</sup>, de Broglie<sup>728</sup>, de Saint-Aulaire<sup>729</sup>, wszystkie niepospolite kobiety, które w swoich uroczych listach tak uczenie i tak dorzecznie cytują Sofoklesa<sup>730</sup>, Schillera<sup>731</sup> i *Naśladowanie Chrystusa*<sup>732</sup>, ale w których pierwsze poezje romantyków budziły owo przerażenie i znużenie, o jakie przyprawiały moją babkę ostatnie wiersze Mallarmégo<sup>733</sup>.

— Pani d'Arpajon bardzo kocha poezję — rzekła do pani de Guermantes księżna Parmy, uderzona zapalem tej apostrofy<sup>734</sup>.

— Nie, nie rozumie się na niej absolutnie nic — odparła cicho pani de Guermantes, która skorzystała z tego, że pani d'Arpajon, odpowiadając na jakieś obiekcje generała de Beautreillis, zbyt była zajęta własnymi słowami, aby słyszeć to, co szepcze Oriana. — Robi się literatką, odkąd została na lodzie. Powiem waszej wysokości, że to ja dźwigam ciężar tego wszystkiego, bo ona przychodzi płakać na moim łonie za każdym razem, kiedy Błażej nie był u niej, to znaczy prawie co dzień. Ostatecznie, to nie jest moja wina, jeżeli ona go nudzi; nie mogę go zmusić, żeby do niej chodził, mimo iż wolałabym raczej, żeby był jej trochę wierniejszy, bo wówczas widywałabym ją trochę mniej. Ale ona go nudzi i nie ma w tym nic dziwnego. To nie jest zła osoba, ale jest nudna w stopniu, o jakim księżna nie może mieć pojęcia. Przyprawia mnie codziennie o takie bóle głowy, że za każdym razem muszę brać proszek piramidonu. A wszystko dlatego, że Błażejowi przyszło do głowy zdradzać mnie z nią w ciągu roku. I mieć do tego lokaja, który zakochał się w podfruwajce i stroi miny, kiedy nie prosię tej młodej osoby, aby porzuciła na chwilę swój rentowny trotuar i przyszła do mnie na herbatę. Och, życie jest rozpaczliwe — zakończyła smętnie Oriana.

Pani d'Arpajon męczyła zwłaszcza księcia de Guermantes dlatego, że był od niedawna kochankiem innej; dowiedziałem się, że ową inną jest margrabina Surgis-le-Duc. Właśnie ów lokaj pozbawiony wychodnego podawał przy stole. I pomyślałem, że, jeszcze widać smutny, usługuje bardzo niepewnie, bo zauważyłem, że kiedy podawał panu de Châtellerault, wywiązywał się tak niezręcznie z zadania, że łokieć księcia kilka razy potrącił łokieć służącego. Młody książę nie pognewał się bynajmniej na rumieniącego się

<sup>724</sup>*Lorsque l'enfant paraît...* (fr.) — Kiedy zjawia się dziecko, krąg rodzinny wiwatuje głośnie krzykami; początek wiersza *Kiedy zjawia się dziecko* z wczesnego tomu poezji Wiktora Hugo *Liście jesienne* (*Les Feuilles d'automne*, 1831). [przypis edytorski]

<sup>725</sup>*Deshoulières* a. *Des Houlières*, *Antoinette du Ligier de la Garde* (1638–1694) — poetka francuska, autorka listów, znana jako pani Deshoulières (*Madame Deshoulières*), dla odróżnienia od swojej córki Antoinette-Thérèse Deshoulières (1659–1718), także poetki, określanej jako panna Deshoulières (*Mademoiselle Deshoulières*). [przypis edytorski]

<sup>726</sup>*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

<sup>727</sup>*Rémusat*, *Claire Élisabeth Jeanne Gravier de Vergennes de* (1780–1821) — francuska pisarka i pamiętnikarka, dama dworu cesarzowej Józefiny. [przypis edytorski]

<sup>728</sup>*Broglie*, *Albertine de* (1797–1838) — córka pani de Staël, francuskiej publicystki i powieściopisarki, żona polityka Achillesa Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]

<sup>729</sup>*pani de Saint-Aulaire* — Louise Charlotte Victoire de Grimoard de Beauvoir du Roure de Beaumont-Brison (1791–1874), która w 1806 poślubiła Louis-Clair de Beaupoila, hrabiego de Saint-Aulaire (1778–1854), szambelana Napoleona i członka Akademii Francuskiej (1841); autorka pamiętników wyd. w 1875. [przypis edytorski]

<sup>730</sup>*Sofokles* (496–406 p.n.e.) — jeden z trzech największych tragiczków greckich. [przypis edytorski]

<sup>731</sup>*Schiller*, *Friedrich* (1759–1805) — czołowy niemiecki poeta, dramatopisarz, teoretyk sztuki; przyjaciel Goethego; początkowo przedstawiciel preromantycznego nurtu burzy i naporu (niem. *Sturm und Drang*), później tworzył w stylu klasycznym; znany z dramatu historycznego (np. *Dzielnica Orleańska*) i romantycznych ballad (np. *Rękawiczka*), a także z *Ody do radości* (1785). [przypis edytorski]

<sup>732</sup>*Naśladowanie Chrystusa*, właśc. *O naśladowaniu Chrystusa* (łac. *De imitatione Christi*) — bardzo popularna książka religijna, poradnik życia chrześcijańskiego, napisany ok. 1418–1427, przypisywany Tomaszowi à Kempis. [przypis edytorski]

<sup>733</sup>*Mallarmé*, *Stéphane* (1842–1898) — francuski poeta, krytyk literacki, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli symbolizmu, uważany za prekursora liryki współczesnej. [przypis edytorski]

<sup>734</sup>*apostrofa* (z gr.) — tu: przemówienie do kogoś lub przeciw komuś. [przypis edytorski]

lokaja; przeciwnie, popatrzył na niego ze śmiechem swymi jasnoblękitnymi oczami. Ten dobry humor zdawał mu się dowodem dobroci. Ale uporczywość jego śmiechu kazała mi przypuszczać, że, świadomy goryczy służącego, czuje może, przeciwnie, złośliwą radość.

— Ależ, moja droga, wiesz, że to, co nam powiadasz o Wiktorze Hugo, to nie jest odkrycie — ciągnęła Oriana, zwracając się tym razem do pani d'Arpajon, która obróciła głowę z dosyć niespokojną miną. — Nie licz na ten zaszczyt, że lansujesz debiutanta. Wszyscy wiedzą, że on ma talent. Co jest okropne, to Wiktor Hugo z ostatnich lat, *Legenda wieków*, nie wiem już tytułów. Ale w *Jesiennych liściach*, w *Pieśniach zmierzchu* to jest często poeta, prawdziwy poeta. Nawet w *Kontemplacjach* — dodała księżna, której obecni nie śmieli przeczyć (i mieli po temu powody!) — są jeszcze ładne rzeczy. Ale przyznaję, że wolę już nie zapuszczać się w to po *Zmierzchu*! A przy tym w pięknych poezjach Wiktora Hugo, a są takie, spotyka się często myśl, nawet głęboką myśl.

I ze szczerym poczuciem, całą siłą intonacji uwypuklając melancholijną myśl, wyodrębniając ją niejako ze swego głosu i wlepiając przed siebie marzące i urocze spojrzenie, księżna powiedziała wolno:

— O, na przykład:

Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi  
Na gałęzi zbyt wężej jeszcze, by mu sprostać...<sup>735</sup>

albo to:

Umarli trwają krótko, krótko,  
Niestety, w trumnie w pył się rozsypują  
Mniej szybko niż w naszych sercach!<sup>736</sup>

I z uśmiechem rozczarowania, marszczącym wdzięcznie jej bolesne usta, księżna zwróciła na panią d'Arpajon marzące spojrzenie jasnych i czarujących oczu. Zaczynałem znać te oczy, zarówno jak jej głos, wlokący się tak ociężale, tak cierpko soczysty. W tych oczach i głosie odnajdywałem wiele z przyrody Combray. Z pewnością w afektacji, z jaką ten głos uwydatniał chwilami szorstkość ziemi, było wiele rzeczy: czysto prowincjonalne pochodzenie tej gałęzi Guermantów, która pozostała dłużej lokalna, śmielszej, dzikszej, bardziej wyzywającej; następnie nawyk ludzi naprawdę dystygowanych i inteligentnych, świadomych, że dystynkcja nie polega na cedzeniu słówek; a równocześnie coś z wielkich panów, chętniej fraternizujących ze swymi chłopami niż z mieszczaństwem. Królewskie stanowisko, jakie miała pani de Guermantes, łatwiej pozwoliło jej dawać wyraz tym cechom, podkreślać je. Zdaje się, że ten sam głos miały jej siostry, których nie cierpiała i które, mniej inteligentne i wydane za mąż prawie po mieszczańsku — jeżeli można się posłużyć tym przysłówkiem, gdy chodzi o pokątną arystokrację zagrzebaną gdzieś na prowincji albo w Paryżu w szarzynach Faubourg Saint-Germain — miały również ten głos, ale poskromiły go, poprawiły, złagodziły, ile mogły. Tak rzadko się zdarza, aby człowiek miał odwagę swojej oryginalności i nie siłił się upodobnić do najbardziej renomowanych wzorów! Ale Oriana była o tyle inteligentniejsza, bogatsza, zwłaszcza modniejsza od siostr, tak dobrze umiała, jako księżna des Laumes, zmienić swój salon w kwaterę księcia Walii, iż zrozumiała, że te dysonanse jej głosu stanowią urok. Z całą odwagą oryginalności i sukcesu zrobiła w wielkim świecie z tego głosu to, co w teatrze jakaś Réjane<sup>737</sup> lub Jeanne Granier<sup>738</sup> (nie zestawiam tu zresztą wartości i talentu tych dwóch artystek) zrobiły ze swego; coś cudownego i odrębnego, co może siostry pań Réjane i Granier — na wieki nieznanie nikomu — próbowały pokryć jako wadę.

<sup>735</sup>Ból to owoc, Bóg tego owocu nie rodzi... — Wiktor Hugo, *Les contemplations* (Kontemplacje). [przypis edytorski]

<sup>736</sup>Umarli trwają krótko, krótko... — Wiktor Hugo, *À un voyageur* (Do podróżnego) z tomu poezji Wiktora Hugo *Les Feuilles d'automne* (Liście jesienne, 1831). [przypis edytorski]

<sup>737</sup>Réjane, Gabrielle (1856–1920) — jedna z najpopularniejszych francuskich aktorek początku XX w. [przypis edytorski]

<sup>738</sup>Granier, Jeanne (1853–1939) — francuska piosenkarka i aktorka, jedna z największych gwiazd muzyki w Paryżu. [przypis edytorski]

Do tyłu źródeł jej lokalnej oryginalności ulubieni pisarze pani de Guermantes — Mérimée<sup>739</sup>, Meilhac<sup>740</sup> i Halévy<sup>741</sup> — dodali, wraz z kultem prostoty, pasję prozauzimu, w której Oriana sięgała poezji, oraz czysto towarzyską swadę, która wskrzeszała dla mnie krajobrazy. Zresztą, bogacąc te wpływy inwencją artystki, księżna umiała dobrać dla większości słów wymowę, która jej się zdawała najbardziej „Ile-de-France”, najbardziej „Champagne”. Mimo iż nie tak całkowicie jak jej bratowa Marsantes, posługiwała się prawie wyłącznie czystym słownictwem, którego mógłby użyć stary autor francuski. I kiedy się było zmęczonym komplikacją i pstrokacizną współczesnej gwary, doznawało się — mimo iż wiedząc, że to słownictwo jest znacznie uboższe — uczucia wypoczynku, słuchając pani de Guermantes. Kiedy się z nią było sam na sam i kiedy ona jeszcze zwężyła i klarowała swój strumyczek, miało się to samo uczucie, co kiedy się słucha starej piosenki. Wówczas, patrząc na panią de Guermantes, słuchając jej, widziałem — uwięzione w wiekuistym i spokojnym popołudniu jej oczu — błękitne niebo Ile-de-France lub Szampanii, nachylone pod tym samym kątem co u Roberta de Saint-Loup.

Tak więc w tych różnych formacjach pani de Guermantes wyrażała równocześnie najstarszą feudalną Francję; następnie — o wiele później — sposób, w jaki księżna de Broglie mogłaby chwalić i ganić Wiktora Hugo za monarchii lipcowej<sup>742</sup>; wreszcie żywe poczucie literackie zrodzone z Mérimée’go i Meilhaca. Pierwsza z tych formacji bardziej mi się podobała od drugiej, lepiej mogła mi wynagrodzić zawody podróży i przybycia do tego Faubourg Saint-Germain, tak odmiennego od moich nadziei; ale wołałem jeszcze drugą od trzeciej. Otóż, o ile pani de Guermantes była Guermantes prawie mimo woli, jej „pailleronizm”<sup>743</sup>, jej admiracja dla Dumasa-syna<sup>744</sup> były rozmyślnie i dobrowolne. Ponieważ ten smak był całkowicie sprzeczny z moim, księżna zasilala moją inteligencję literacko, kiedy mówiła o Faubourg Saint-Germain, nigdy zaś nie wydawała mi się równie głupio „Faubourg Saint-Germain”, co kiedy mówiła o literaturze.

Wzruszona ostatnimi wierszami, pani d’Arpajon wykrzyknęła:

Serca relikwie też mają swe prochy!<sup>745</sup>

— Musi mi to książkę wypisać na wachlarzu — rzekła do pana de Guermantes.  
— Biedna kobieta, żal mi jej! — szepnęła księżna Parmy do pani de Guermantes.  
— Nie, niech się księżna nie rozczula; ma tylko to, na co zasłużyła.  
— Ale... przepraszam, że tobie to mówię... ale ona go naprawdę kocha!  
— Ale wcale nie, niezdolna jest do tego; myśli, że kocha, tak jak myśli w tej chwili, że cytuje Wiktora Hugo, dlatego że przytoczyła wiersz Musseta. Och — dodała księżna melancholijnym tonem — nikt bardziej ode mnie nie wzruszyłby się prawdziwym uczuciem. Ale ja dam księżnej przykład. Wczoraj zrobiła Błażejowi straszliwą scenę. Wasza wysokość myśli może, że to dlatego, że on kocha inną, że już nie kocha jej; wcale nie: dlatego, że nie chce przedstawić jej synów do Jockey Clubu! Czy wasza wysokość sądzi, że tak postępuje kochająca kobieta? Nie, ja powiem więcej — zakonkludowała pani de Guermantes — to jest osoba o rzadkim braku serca.

Tymczasem pan de Guermantes z okiem błyszczącym radością słuchał, jak żona mówi *ex abrupto*<sup>746</sup> o Wiktorze Hugo i cytuje zeń parę wierszy. Mimo iż Oriana drażniła go często, w takich chwilach był z niej dumny. „Oriana jest doprawdy nadzwyczajna. Może

<sup>739</sup>Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz. [przypis edytorski]

<sup>740</sup>Meilhac, Henri (1831–1897) — francuski dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

<sup>741</sup>Halévy, Ludovic (1834–1908) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor sztuk teatralnych i librett operetkowych, współpracował z Henrim Meilhakiem. [przypis edytorski]

<sup>742</sup>monarchia lipcowa (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

<sup>743</sup>pailleronizm (neol.) — cechy typowe dla twórczości Edouarda Paillerona (1834–1899), francuskiego poety i dramaturga, autora satyrycznych komedii obyczajowych, m.in. bardzo popularnej sztuki *Le Monde où l’on s’ennuie* (1881), wyśmiewającej klasę wyższą. [przypis edytorski]

<sup>744</sup>Dumas, Alexandre, syn (1824–1895) — francuski pisarz, członek Akademii Francuskiej, autor powieści obyczajowych, komedii moralistycznych. [przypis edytorski]

<sup>745</sup>Serca relikwie też mają swe prochy! — Alfred de Musset, *La Nuit d’octobre* (Noc październikowa). [przypis edytorski]

<sup>746</sup>ex abrupto (łac.) — bez przygotowania, od razu, nagle. [przypis edytorski]

mówić o wszystkim, wszystko czytała. Nie mogła przecież zgadnąć, że rozmowa zejdzie dziś na Wiktora Hugo. Na jaki bądź temat ją zagadnąć, gotowa jest; może stawić czoło najuczestszym. Ten młody człowiek musi być olśniony”.

— Ale odmieńmy rozmowę — szepnęła pani de Guermantes do księżnej Parmy — bo ona jest strasznie podejrzliwa. Musi mnie pan znajdować bardzo niemodną — rzekła, zwracając się do mnie — ja wiem, że to dziś uchodzi za słabość kochać w poezji idee, poezję, w której jest myśl.

— Niemodne? — rzekła księżna Parmy z lekkim dreszczykiem, o jaki ją przyprawiała ta nowa fala, której się nie spodziewała, mimo iż wiedziała, że rozmowa Oriany gotuje jej zawsze te kolejne i rozkoszne uderzenia, te zapierające oddech wstrząsy, to zdrowe znużenie, po których instynktownie przychodziła jej ochota na kąpiel nożną i na szybki spacer „dla wywołania reakcji”.

— Co się mnie tyczy, nie, Oriano — rzekła pani de Brissac — ja nie mam pretensji do Wiktora Hugo, że ma idee, przeciwnie; raczej o to, że ich szuka w tym, co jest potworne. W gruncie rzeczy to nas przyzwyczaił do szpetoty w literaturze. Dostyc już jest brzydkich rzeczy w życiu. Czemu nie zapomnieć o nich bodaj wówczas, gdy czytamy? Przykry widok, od którego odwróciłibyśmy oczy w życiu, oto, co pociąga Wiktora Hugo.

— Wiktor Hugo nie jest przecież tak realistyczny jak Zola? — spytała księżna Parmy.

Nazwisko Zoli nie poruszyło ani jednego mięśnia w twarzy pana de Beautreillis. Antydreyfusizm generała był zbyt głęboki, aby czuł potrzebę wypowiedzania się. I życzliwe milczenie generała, kiedy ktoś poruszył owe tematy, ujmowało profanów tą samą delikatnością, jaką okazuje ksiądz, nie mówiąc nam o obowiązkach religijnych, finansista starający się nie zachwalać interesów, które prowadzi, siłacz okazując się łagodnym i nie częstując nas pięścią.

— Wiem, że pan jest krewny admirała Jurien de la Gravière<sup>747</sup> — rzekła do mnie ze świadomą miną pani de Varambon, dama dworu księżnej Parmy, kobieta zacna, ale ograniczona, ulokowana u księżnej Parmy niegdyś przez matkę pana de Guermantes. To były jej pierwsze słowa do mnie; i nigdy później, mimo upomnień księżnej Parmy i własnych moich protestów, nie mogłem jej wytłumaczyć, że nie mam absolutnie nic wspólnego z admirałem-akademikiem, którego nawet nie znałem. Upór tej damy dworu, aby we mnie widzieć bratanka admirała, miał coś komicznego. Ale błąd jej był jedynie krańcowym i schematycznym typem tylu lżejszych, delikatniejszych, mimowolnych lub rozmyślnych błędów towarzyszących naszemu nazwisku w „fiszce”, jaką świat z nas sporządza. Przypominam sobie, że pewien przyjaciel Guermantów, objawiwszy żywą chęć poznania mnie, podał mi jako przyczynę fakt, że ja bardzo dobrze znam jego kuzynkę, panią de Chaussegros: „Uroczą jest, przepada za panem”. Przez czczy zaiste skrupuł czułem się w obowiązku stwierdzić, że zachodzi pomyłka, że ja nie znam pani de Chaussegros. „W takim razie zna pan jej siostrę, to na jedno wychodzi. Spotkała pana w Szkocji”. Nigdy nie byłem w Szkocji i przez uczciwość starałem się to daremnie wytłumaczyć owemu panu. To sama pani de Chaussegros powiedziała mu, że mnie zna, i wierzyła w to z pewnością szczerze, na skutek jakiejś pierwotnej omyłki, bo zawsze wyciągała do mnie rękę, ilekroć mnie spotkała. Że zaś w sumie świat, w którym bywałem, był ten sam, co świat pani de Chaussegros, pokora moja była ni w pięć, ni w dziewięć. To, że żyłem blisko z Chaussegrosami, było omyłką; ale z towarzyskiego punktu widzenia było ekwiwalentem mojej sytuacji, o ile można mówić o „sytuacji” tak młodego człowieka, jakim byłem wówczas. Mimo zatem iż przyjaciel Guermantów opowiadał o mnie same rzeczy fałszywe, nie obniżył mnie ani mnie nie wywyższył (ze światowego punktu widzenia) w pojęciu, jakie nadal sobie tworzył o mnie.

W sumie dla tych, co nie grają w teatrze, nuda pędzenia życia wciąż w jednej osobowości rozprasza się na chwilę — tak jakby się wstąpiło na deski sceniczne — kiedy inna osoba stworzy sobie o nas fałszywe pojęcie, uwierzy, że jesteśmy blisko z jakąś damą, której wcale nie znamy, i że stwierdzone jest, żeśmy ją poznali w czasie ślicznej podróży, którejśmy nigdy nie odbyli. Takie błędy bogacą życie, urocze są, o ile nie posiadają niewzruszonej sztywności błędu, jaki popełniała i miała popełniać całe życie idiotyczna

<sup>747</sup> *Jurien de La Gravière, Edmond* (1812–1892) — francuski admirał, autor obszernych prac dotyczących historii marynarki wojennej; członek Akademii Francuskiej (1866). [przypis edytorski]

dama dworu księżnej Parmy, skostniała na zawsze w przeświadczeniu, że ja jestem krewnym nudnego admirała Jurien de la Gravière.

— Ona nie jest zanadto mądra — rzekł do mnie książę — a przy tym nie trzeba jej zbyt wielu libacji, sądzę, że jest leciutko pod znakiem Bachusa<sup>748</sup>.

W rzeczywistości pani de Varambon piła tylko wodę, ale książę lubił lokować swoje ulubione wyrażenia.

— Ależ, wasza wysokość, Zola nie jest realistą, to poeta! — rzekła pani de Guermantes, czerpiąc natchnienie i w studiach krytycznych, czytanych w ciągu ostatnich lat, i zaprawiając je osobistym akcentem.

Księżna Parmy, przyjemnie wstrząsana dotąd, w czasie pełnej wzruszeń kąpieli duchowej, jaką brała tego wieczora, uważając ją dla siebie za szczególnie zbawienną, dając się nieść paradoksom, które rozbryzgiwały się jeden po drugim, tu, wobec tego paradoksu potworniejszego od innych, aż skoczyła z obawy, aby jej fala nie przewróciła. I przerywanym głosem, tak jakby traciła oddech, rzekła:

— Zola poetą!

— Ależ tak — rzekła, śmiejąc się księżna, uszczęśliwiona tą zadyszka. — Niech wasza wysokość zauważy, jak on wyolbrzymia wszystko, czego dotknie. Powie mi księżna, że on dotyka jedynie tego, co... przynosi szczęście! Ale robi z tego coś olbrzymiego: to epik gnojówki, Homer kloaki! Nigdy mu dość wielkich liter, aby wypisać słowo generała Cambronne<sup>749</sup>.

Mimo ogromnego zmęczenia, jakie zaczynała odczuwać, księżna Parmy była zachwycona; nigdy się nie czuła lepiej. Tych boskich obiadów, które pani de Guermantes uczyniła czymś tak tonizującym od nadmiaru soli, nie oddałaby za pobyt w Schönbrunn<sup>750</sup>, jedyną rzecz, która jej pochlebiała.

— Pisz je przez wielkie „C” — wykrzyknęła pani d’Arpajon.

— Raczej, sądzę, przez wielkie „G”, kochanie — odparła pani de Guermantes, wymieniając równocześnie z mężem wesołe spojrzenie, mające znaczyć: „Czy nie idiotka?” — O właśnie — rzekła do mnie pani de Guermantes, darząc mnie uśmiechniętym i słodkim spojrzeniem, i dlatego że jako doskonała gospodyni domu chciała okazać swoją wiedzę w przedmiocie artysty, który mnie szczególnie interesował, i aby mi dać w potrzebie sposobność okazania mojej wiedzy — o — rzekła, poruszając lekko wachlarzem z piór, tak była świadoma w tej chwili, że wykonuje w całej pełni obowiązki gościnności, i aby nie chybić żadnemu z nich, dała znak, aby mi jeszcze raz podano szparagi *sauce mousseline*<sup>751</sup> — o, zdaje mi się, że właśnie Zola napisał studium o Elstirze, tym malarzu, którego obrazy oglądał pan przed chwilą; jedyne zresztą obrazy tego malarza, które lubię — dodała.

W rzeczywistości księżna Oriana nie cierpiała malarstwa Elstira; ale uważała za cenne i jedyne wszystko, co się znajdowało w jej domu. Spytałem pana de Guermantes, czy zna nazwisko owego pana figurującego w cylindrze na zabawie ludowej: utożsamilem go z panem, którego Guermantowie posiadali tuż obok wielki portret, datujący się mniej więcej z tej samej epoki, kiedy indywidualność Elstira nie wyraziła się jeszcze całkowicie i pozostawała nieco pod wpływem Maneta.

— Mój Boże — odparł — wiem, że to jest człowiek do pewnego stopnia znany i niepozbawiony talentu w swojej specjalności, ale doprawdy nie mam pamięci do nazwisk. Mam go na końcu języka; pan... pan... ostatecznie, pał sześć, nie pamiętam. Swann by to panu powiedział; to Swann namówił moją żonę na kupno tych rzeczy, a Oriana jest zawsze zbyt uprzejma, zanadto się boi urazić kogoś, jeżeli odmówi; mówiąc między nami, sądzę, że kochany Swann ubrał nas w tęgie knoty. Tyle mogę panu powiedzieć, że ten jegomość był dla Elstira czymś w rodzaju mecenasa, lansował go i niejedną raz wydobyl go z tarapatów, zamawiając u niego płótna. Przez wdzięczność (jeżeli pan to nazwie

<sup>748</sup>Bachus (mit. rzym.) — bóg winnej latorośli i wina. [przypis edytorski]

<sup>749</sup>Cambronne, Pierre (1770–1842) — francuski generał napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde!”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne’a). [przypis edytorski]

<sup>750</sup>Schönbrunn — pałac wraz z parkiem w Wiedniu, powstały na przełomie XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>751</sup>*sauce mousseline* (fr.) — sos muslinowy: sos holenderski (emulsja żółtek jaj i masła) z dodatkiem bitej śmietany; podawany do szparagów. [przypis edytorski]



wdzięcznością, to zależy od gustu) malarz wpakował go w ten interes, gdzie wystrojony jak łyk na niedzielę, robi dosyć zabawne wrażenie. To może być bardzo tęgi fachowiec, ale najoczywiściej nie wie, w jakich okolicznościach wkłada się cylinder. Sam jeden w tym cylindrze, pośród tych wszystkich dziewcząt bez kapeluszy, robi wrażenie prowincjonalnego rejenta, który się puszcza. Ale ja widzę, że pan jest bardzo bity w tych obrazach. Gdybym wiedział, byłbym się i ja obkuł, żeby panu móc stawiać czoło. Zresztą, dla zgłębienia malarstwa pana Elstir nie ma co się zapuszczać tak głęboko, co gdyby chodziło o *Źródło Ingres* lub o *Dzieci Edwarda* pana Delaroche<sup>752</sup>. Ot, można przyznać, że to jest zręcznie pochwycone, sprytnie, paryskie i... do widzenia! Nie ma potrzeby być erudytą<sup>753</sup>, aby to oglądać. Wiem, że to są proste szkice, ale nie wydaje mi się, aby to było dość wypracowane. Swann miał ten tupet, że chciał nam wmówić jakąś *Wiązkę szparagów*. Stały nawet tutaj te szparagi przez kilka dni. Było na obrazie tylko tyle: wiązka szparagów, ściśle podobna do tych, które właśnie pan łyka. Ale ja nie połknąłem szparagów pana Elstir. Żądał za nie trzysta franków. Trzysta franków wiązka szparagów! Jednego ludwika, oto co mogą być warte, nawet jako nowalia! To był za gruby kawał. A skoro do tych rzeczy dodaje figury, osoby, nabiera to jakiegoś akcentu gminnego, pesymistycznego, którego nie lubię. Dziwi mnie, że człowiek tak subtelny, umysł tak wyborczy jak pański, ceni te rzeczy.

— Doprawdy nie wiem, czemu ty to mówisz, Błażeju — rzekła księżna, która nie lubiła, aby deprecjonowano coś, co się mieściło w jej salonach. — Daleka jestem od uznawania bez różnicy wszystkiego w obrazach Elstira. Trzeba umieć wybierać. Ale to nie zawsze jest bez talentu. I trzeba przyznać, że te rzeczy, które ja kupiłam, są rzadkiej piękności.

— Oriano, w tym rodzaju wolę tysiąc razy małe studium pana Vibert<sup>754</sup>, któreśmy oglądali na wystawie akwarelistów. To drobiazg, przyznaję, zmieściłby się w tej dłoni, ale jest w tym sens, myśl! Ten misjonarz chudy jak szkielec, brudny, obok tego tłusciutkiego pralata, który bawi się z piaskiem, to cały poemacik finezji, nawet głębi.

— Zdaje się, że pan zna pana Elstir — rzekła do mnie księżna. — Jako człowiek jest miły.

— Nawet inteligentny — rzekł książę. — Kiedy się z nim rozmawia, człowiek dziwi się, że jego malarstwo jest takie pospolite.

— Jest więcej niż inteligentny, jest nawet wcale dowcipny — rzekła księżna z wyrazem smakosza.

— Czy nie zaczął twojego portretu, Oriano? — spytała księżna Parmy.

— Tak, na czerwono *à la rak* — odparła pani de Guermantes. — Ale nie to przekaże jego imię potomności. To ohyda, Błażej chciał to zniszczyć.

Zdanie to powtarzała pani de Guermantes często. Ale kiedy indziej sąd jej bywał inny. „Nie lubię jego malarstwa, ale swego czasu zrobił mój ładny portret”. Jeden z tych sądów zwracał się zwykle do osób, które wspominały księżnej o jej portrecie, drugi do osób, które jej o nim nie mówiły, a które chciała powiadomić o jego istnieniu. Pierwszy jej sąd rodziła kokieteria, drugi próżność.

— Zrobić ohydę z twojego portretu! Ależ w takim razie to nie portret, to kłamstwo: ja, która ledwie umiem trzymać pędzel w ręce, mam wrażenie, że gdybym cię malowała, po prostu oddając to, co widzę, zrobiłabym arcydzieło — rzekła naiwnie księżna Parmy.

— Widzi mnie zapewne tak, jak ja widzę siebie, to znaczy wyprutą z wdzięku — rzekła pani de Guermantes ze spojrzeniem zarazem melancholijnym, skromnym i przymilnym, najspodobniejszym, aby ją pokazać inną, niż to uczynił Elstir.

— Ten portret musi się dosyć podobać pani de Gallardon — rzekł książę.

— Dlatego że się nie zna na malarstwie? — spytała księżna Parmy, która wiedziała, że Oriana ma liche pojęcie o kuzynce. — Ale to dobra kobieta, nieprawdaż?

Książę de Guermantes przybrał wyraz głębokiego zdumienia.

— Ależ, Błażeju, czy nie widzisz, że jej wysokość żartuje sobie z ciebie (jej wysokości ani się śniło). Wie równie dobrze jak ty, że Gallardonka to stara żmija — odparła

<sup>752</sup>Delaroche, Paul (1797–1856) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu. [przypis edytorski]

<sup>753</sup>erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

<sup>754</sup>Vibert, Jehan Georges (1840–1902) — francuski malarz akademicki. [przypis edytorski]

pani de Guermantes, której słownik, zazwyczaj ograniczony do wszystkich tych antycznych wyrażen, był smaczny jak owe dostępne w rozkosznych książkach Pampille'a<sup>755</sup>, ale w rzeczywistości dziś tak rzadkie potrawy, gdzie auszpik, masło, sok z mięsa, pulpety są autentyczne, bez żadnej podejrzonej domieszki, a nawet sól sprowadza się ze słonych bagien Bretanii; z akcentu, z doboru słów czuło się, że grunt rozmowy księżnej pochodzi wprost z Guermantes. Przez to księżna różniła się głęboko od swego siostrzeńca Saint-Loup, zarażonego tyłoma nowymi pojęciami i wyrażeniami; trudno jest, kiedy się jest zmaconym ideami Kanta i nostalgią Baudelaire'a<sup>756</sup>, pisać wyborną francuszczyznę z czasu Henryka IV, tak iż sama czystość mowy księżnej była znakiem ograniczenia oraz tego, że inteligencja i wrażliwość pozostały w niej zamknięte dla wszystkich nowości. Umysłowość pani de Guermantes podobała mi się i przez to, co wykluczała (a co było właśnie substancją mojej własnej myśli), i przez to wszystko, co właśnie z tej przyczyny mogła zachować, tę powabną krzepkość gibkiego ciała, której nie skaziła żadna wyczerpująca refleksja, żadna troska moralna ani zaburzenie nerwowe. Dusza jej, formacją o tyle dawniejsza od mojej, była dla mnie czymś bliskim tego, co mi dał chód dziewcząt z „małej bandy” nad brzegiem morza. Pani de Guermantes ukazywała mi — obłaskawione i ujarzmione przez uprzejmość, przez kult walorów duchowych — energię i wdzięk okrutnej dziewczynki wielkiego rodu z okolic Combray, która od dzieciństwa dosiadała konia, łamała krzyże kotom, wylupiała oczy królikom i równie dobrze jak została kwiatem cnoty, mogła (tak dalece posiadała ten sam typ elegancji) zostać, sporo lat przedtem, najświetniejszą kochanką księcia de Sagan<sup>757</sup>. Ale niezdolna była pojąć, czego w niej szukałem — uroku nazwy „Guermantes” — i tej prowincjonalnej resztki Guermantes, którą w niej znalazłem. Nasze stosunki wspierały się na nieporozumieniu, które musiałyby się ujawnić, z chwilą gdy moje hołdy zamiast się zwracać do kobiety stosunkowo wyższej, za jaką uważała się księżna, skierowałyby się do jakiejś innej, równie miernej, a wydzielającej ten sam bezwiedny czar. To tak naturalne nieporozumienie zawsze będzie istniało między młodym marzycielem a światową kobietą; ale jest mu ono bolesne, dopóki jeszcze nie pojął charakteru swojej wyobraźni i nie pogodził się z nieuniknionymi zawodami, jakich musi doznawać w stosunkach z ludźmi, podobnie jak w teatrze, w podróży, nawet w miłości.

Pan de Guermantes oświadczył (dalszy ciąg szparagów Elstira i tych, które właśnie podano po kurczętach *financière*), że szparagi zielone, wyrosłe na powietrzu i — jak zabawnie powiedział uroczy autor podpisujący się: „E. de Clermont-Tonnerre”<sup>758</sup> — „nie-mające niepokojącej sztywności swoich braci”, powinno się jeść z jajkami.

— To, co się podoba jednym, nie podoba się drugim, i *vice versa* — odparł pan de Bréauté. — W prowincji Kantonu w Chinach nie mogą wam ofiarować delikatniejszej uczy niż kompletnie zgniłe jajka ortolana<sup>759</sup>.

Pan de Bréauté, autor studium o mormonach<sup>760</sup> w „Revue des Deux Mondes”, był jedynie w najwyższej arystokracji, ale wśród niej był jedynie w sferach posiadających pewną renomę inteligencji. Tak iż po jego wizytach (przynajmniej częstych) u jakiejś kobiety poznawało się, czy ona ma „salon”. Utrzymywał, że nie cierpi świata, i zapewniał oddzielnie każdą diuszese, że jeżeli szuka jej towarzystwa, to dla jej inteligencji i urody. Wszystkie były o tym przekonane. Za każdym razem kiedy, z rozpaczą w duszy, decydował się iść na wielki raut do księżnej Parmy, zwoływał wszystkie te panie, aby mu dodawały odwagi, tak iż nie pojawiał się inaczej, jak w intymnym kółku. Chcąc, aby reputacja intelektualisty przetrwała jego światowość, stosował pewne zasady „ducha Guermantów”:

<sup>755</sup> Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

<sup>756</sup> Baudelaire, Charles (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytucja, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

<sup>757</sup> *Boson de Talleyrand-Périgord, książę de Sagan (Żagania)* (1859–1937) — słynny francuski salonowiec; w 1858 poślubił Jeanne Seillière (1839–1905), która zasłynęła z wdzięku i wpływów we francuskim życiu towarzyskim XIX w. [przypis edytorski]

<sup>758</sup> *Élisabeth de Gramont, księżna Clermont-Tonnerre* (1875–1954) — francuska pisarka. [przypis edytorski]

<sup>759</sup> *ortolan* — mały ptak wędrowny z rodziny trznadli. [przypis edytorski]

<sup>760</sup> *mormoni* — członkowie wspólnoty religijnej powstałej w poł. XIX w. w Stanach Zjednoczonych w wyniku działalności Josepha Smitha, uznawanego przez wiernych za proroka. [przypis edytorski]

puszczał się na przykład w towarzystwie wytwornych dam w karnawale na długie podróże naukowe; a kiedy jakaś snobka, tym samym osoba niemająca jeszcze sytuacji, zaczynała szeroko „bywać”, wkładał dziki upór w to, aby się z nią nie zapoznać, aby się jej nie dać przedstawić. Nienawiść pana de Bréauté do snobów płynęła z jego snobizmu, ale pozwalała wierzyć naiwnym — to znaczy całemu światu — że jest wolny od tej przywary.

— Babal wie zawsze wszystko! — wykrzyknęła pani de Guermantes. — Uroczy wydaje mi się ten kraj, gdzie ludzie chcą mieć gwarancję, że im mleczarz sprzedaje jajka dostatecznie zgniłe, jajka z roku komety. Widzę się w Chinach, jak w tym maczam swoją bułeczkę z masłem. Muszę powiedzieć, że to się zdarza u ciotki Magdaleny (pani de Villeparisis) podają tam rzeczy kompletnie zgniłe, nawet jajka. (Tu pani d’Arpajon okrzyknęła się). Ależ daj spokój, Fili, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Kurczątka już się lęgnie. Nie wiem nawet, jak one mogą tak grzecznie wysiedzieć. To nie jest omlet, ale kurnik, ale przynajmniej nie mówi się o tym w menu. Dobrześ zrobiła, żeś nie przyszła na obiad przedwczoraj, była tam fładra w formalinie. To już robiło wrażenie nie obiadu, ale kwarantanny. Doprawdy, Norpois posunął wierność aż do heroizmu: dobrał drugi raz!

— Zdaje się, że pana spotkałem tam w dniu, kiedy ona tam wpadła na pana Bloch — pan de Guermantes, może aby dać izraelickiemu nazwisku bardziej cudzoziemski charakter, nie wymawiał w nazwisku Bloch „ch” jak „k”, ale jak w niemieckim *hoch* — gdy oświadczył, nie wiem już o jakim poecie, że jest boski. Daremnie Châtellerault kopał pod stołem pana Bloch; nic nie rozumiał i myślał, że te trącania siostrzeńca przeznaczone są dla jakiejś ładnej kobiety siedzącej obok — tu pan de Guermantes zarumienił się lekko. — Nie zdawał sobie sprawy, że drażni naszą kochaną ciotkę swoimi „boskościami”, rozdawanymi na prawo i lewo. Krótko mówiąc, ciotka Magdalena, która ma ostry języczek, odpaliła Blochowi: „Och, drogi panie, co pan w takim razie zachowa dla pana de Bossuet<sup>761</sup>”. — Pan de Guermantes sądził, że przydatek „pan” oraz „de” przed sławnym nazwiskiem są na wskroś *ancien régime*. — To było nieopłacone!

— A co odpowiedział ów pan Bloch? — spytała z roztargnieniem pani de Guermantes, która nie znajdując pod ręką żadnej oryginalności, czuła się w obowiązku kopiować germańską wymowę męża.

— Och, ręczę ci, że pan Bloch nie czekał na więcej, wziął nogi za pas.

— Ależ tak, przypominam sobie wybornie, że pana widziałam owego dnia — rzekła z naciskiem pani de Guermantes, tak jakby ta jej pamięć zawierała coś, co by mi mogło szczególnie pochlebić. — Zawsze jest bardzo interesująco u ciotki. Na ostatnim wieczorze, gdzie pana właśnie spotkałam, chciałam pana spytać, czy ten stary pan, co przeszedł koło nas, to nie był François Coppée<sup>762</sup>? Pan musi znać wszystkie nazwiska — rzekła, szczerze zazdroszcząc mi moich stosunków poetyckich, a także przez uprzejmość, aby tym lepiej „postawić” w oczach swoich gości młodego człowieka tak biegłego w literaturze.

Upewniłem księżnę, że nie widziałem żadnej sławnej twarzy na wieczorze u pani de Villeparisis.

— Jak to! — rzekła nieopatrznie pani de Guermantes, okazując przez to, że jej szacunek dla literatury, a wgarda dla świata są bardziej powierzchowne, niż mówiła, a może nawet, niż sama przypuszczała. — Jak to! Nie było wielkich pisarzy? Zdumiewa mnie pan, były tam przecież facjaty wręcz niemożliwe!

Przypomniałem sobie bardzo dobrze ów wieczór z powodu nader błahego wypadku. Pani de Villeparisis przedstawiła pani Alfonsowej Rotszyldowej<sup>763</sup> Blocha, który nie dosłyszał jej nazwiska. Sądząc, że ma do czynienia ze starą i trochę pomyloną Angielką, odpowiadał jedynie półsłówkami na obfite wynurzenia eks-piękności; gdy naraz pani de Villeparisis, przedstawiając ją komuś innemu, powiedziała, tym razem bardzo wyraźnie: „baronowa Alfonsowa de Rotszyld”. Wówczas w tętnice Blocha wdarło się nagle i naraz tyle obrazów milionów i stosunków (obrazów, które należałoby rozważyć dawkowo), że

<sup>761</sup>Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>762</sup>Coppée, François (1842–1908) — francuski poeta i dramaturg; członek Akademii Francuskiej (1884). [przypis edytorski]

<sup>763</sup>pani Alfonsowa Rotszyldowa — Leonora de Rothschild (1837–1911), urodzona w Londynie, od 1857 żona swego kuzyna, barona Alphonse’a de Rothschild, przeniósł się do Paryża. [przypis edytorski]

uczul jakby ściśnięcie serca, uderzenie na mózg, i w obecności sympatycznej starej damy wykrzyknął: „Gdybym był wiedział!”. Głupota tego wykrzyknika przyprawiła go o bezsenność przez tydzień. Te słowa Blocha były czymś niezbyt ważnym, ale zapamiętałem je jako dowód, że czasem w życiu pod wpływem wyjątkowego wzruszenia mówi się to, co się myśli.

— Zdaje się, że pani de Villeparisis nie jest osobą bardzo... moralną — rzekła księżna Parmy, która wiedziała, że się nie bywa u ciotki pani de Guermantes, z tego zaś, co sama Oriana natrąciła przed chwilą, odgadła, że można mówić o tej damie swobodnie. Widząc w twarzy pani de Guermantes jakby dezaprobatę, dodała: — Ale inteligencja, kiedy jest tak wysokiej klasy, okupuje wszystko.

— Wasza wysokość tworzy sobie o mojej ciotce pojęcie, jakie ma o niej świat — odparła księżna — pojęcie w sumie bardzo fałszywe. To samo właśnie, nie dalej niż wczoraj, powiedział mi Mémé.

Zarumieniła się, jakies nieznanne mi wspomnienie zamglilo jej oczy. Przyszło mi na myśl, że może pan de Charlus nalegał na księżnę, aby mnie odprosiła, tak jak mnie nakłaniał przez Roberta, abym do niej nie szedł.

Miałem wrażenie, że rumieniec — niezrozumiały zresztą dla mnie — jakim wprzód oblał się książę, mówiąc w pewnej chwili o swoim bracie, nie może płynąć z tej samej przyczyny.

— Moja dobra ciotka — ciągnęła księżna — zachowa reputację osoby *ancien régime*, olśniewającej inteligencji i szalonego zepsucia. Otóż nie ma umysłowości bardziej mieszczkańskiej, poważnej, szarej. Będzie uchodziła za protektorkę sztuki, co znaczy, że była kochanką wielkiego malarza, który nigdy nie zdołał jej wytłumaczyć, co to jest obraz. Co zaś do jej życia, nie tylko nie była osobą zepsutą, ale była tak stworzona do małżeństwa, tak dalece urodziła się połowicą, że nie mogąc zatrzymać męża, który był zresztą wielką kanalia, każdy ze swoich romansów brała równie serio, co gdyby to był legalny związek, z tymi samymi podejrzliwościami, z tymi samymi kwasami i z tą samą wiernością. Zauważcie, że to są czasem najszczerze związki; w sumie jest w świecie więcej niepokieszonych kochanków niż mężów.

— Jednak, Oriano, spójrz na swego szwagra Palameda, o którym wspomniałaś; nie ma kochanki, która by mogła marzyć o tym, aby być tak opłakiwaną, jak on opłakiwał swoją biedną żonę.

— Och — odparła pani de Guermantes — niech mi wasza wysokość pozwoli nie podzielać w tym całkowicie jej zdania. Nie każdy lubi być opłakiwany w ten sam sposób; każdy ma swoje predylekcje.

— To fakt, że on żywi dla niej prawdziwy kult od czasu jej śmierci. Prawda, że czasem robi się dla umarłych rzeczy, których nie zrobiłoby się dla żywych.

— Po pierwsze — rzekła pani de Guermantes tonem zadumy, tworzącej kontrast z jej żartobliwą intencją — idzie się na ich pogrzeb, czego się nie robi nigdy dla żyjących.

Pan de Guermantes popatrzył z chytrą miną na pana de Bréauté, jakby chcąc go sprowokować do śmiechu z dowcipu żony.

— Ale w sumie, przyznając szczerze — podjęła pani de Guermantes — że jeźlibym lubiła być opłakiwana przez człowieka, którego bym kochała, to niekoniecznie na sposób mego szwagra.

Twarz księcia spochmurniała. Nie lubił, aby żona rzucała sądy na prawo i lewo, zwłaszcza o panu de Charlus.

— Wymagająca jesteś. Jego żal zbudował wszystkich — rzekł surowo.

Ale księżna miewała z mężem rodzaj zuchwałstwa pogromców lub ludzi żyjących z wariatem i nie lękających się go podrażnić:

— Powiadam, że nie! Cóż chcesz, to jest budujące, nie mówię; chodzi co dzień na cmentarz opowiadać jej, ile osób miał na śniadaniu, żałuje jej niezmiernie, ale tak jak kuzynki, jak babki, jak siostry. To nie jest żałoba męża. Prawda, że to było dwoje świętych, co daje żałobie charakter nieco specjalny.

Pan de Guermantes, podrażniony paplaniną żony, wlepił w nią ze straszliwą nieruchomością źrenice nabite jak lufy dubeltówki.

— Nie mówię tego, aby obmawiać poczciwego Mémé, który, nawiasem mówiąc, nie był wolny dziś wieczór — podjęła księżna. — Uznaję, że on jest dobry jak nikt,

jest rozkoszny, delikatny, serce ma takie, jak się mężczyznom nie zdarza mieć zazwyczaj. Mémé to serce kobiety.

— To, co mówisz, nie ma najmniejszego sensu — przerwał żywo pan de Guermantes. — Mémé nie ma w sobie nic zniewieściałego, nikt nie jest bardziej męski.

— Ależ ja nie twierdzę, że jest bodaj trochę zniewieściały. Zrozum choć, co ja mówię — odparła księżna. — Och, ten Błażej, skoro tylko ruszyć jego brata! — dodała, obracając się do księżnej Parmy.

— To bardzo ładne, to urocze. Nie ma nic piękniejszego niż dwaj bracia, którzy się kochają — rzekła księżna Parmy tak, jak by powiedziało wiele osób z ludu, bo można należeć do rodziny monarszej krwią, a zarazem duchem do rodziny bardzo ludowej.

— Skoro mówimy o twojej rodzinie, Oriano — ciągnęła — widziałam wczoraj twego siostrzeńca Saint-Loup; zdaje mi się, że on chce cię prosić...

Książę de Guermantes zmarszczył jowiszowe<sup>764</sup> brwi. Kiedy nie miał ochoty wyświadczyć jakiejś przysługi, nie chciał, aby się żona tego podejmowała; wiedział, że to wyszłoby na jedno i że osoby, których księżna musiałaby o coś prosić, zapisałyby to na wspólne konto małżeństwa, tak samo jakby prosił on sam.

— Czemu mi sam nie powiedział — rzekła Oriana. — Siedział tutaj dwie godziny wczoraj, a Bóg wie, jaki on potrafi być nudny. Nie byłby głupszy od innych, gdyby miał, jak tylu ludzi z towarzystwa, ten rozum, aby umieć pozostać głupim. Tylko ten pokost wiedzy jest u niego straszny. Chce mieć głowę otwartą... otwartą dla wszystkich rzeczy, których nie rozumie. Gada o Maroku, to okropne!

— Nie chce tam wracać z powodu Racheli — rzekł książę de Foix.

— Ale przecież to już zerwane — przerwał pan de Bréauté.

— Tak dalece nie zerwane, żem ją zastał dwa dni temu w garsonierze Roberta; nie robili wrażenia ludzi pokłóconych, ręczę państwu — odpowiedział książę de Foix, który chętnie rozpowszechniał wszystkie pogłoski zdolne udaremnić małżeństwo Roberta, przy czym mogły go zresztą omylić dorywcze nawroty zakończonego w istocie stosunku.

— Ta Rachela mówiła mi o panu, widuję ją czasem, przechodząc rano przez Pola Elizejskie; trochę pomyłona, jak wy to nazywacie, to, co się u was mówi „ładacznica”, rodzaj „Damy kameliowej”<sup>765</sup>, w przenośni, rozumie się. — Mówił to do mnie Prinz Von, który lubił się okazywać człowiekiem *au courant*<sup>766</sup> francuskiej literatury i paryskich finezji.

— To właśnie z powodu Maroka... — wykrzyknęła księżna Parmy, starając się nawiązać.

— Czego on może chcieć z tym Marokiem? — spytał surowo pan de Guermantes. — Wie dobrze, że Oriana nie może nic w tym zakresie.

— Myśli, że on wynalazł strategię — ciągnęła pani de Guermantes — przy tym on używa niemożliwych słów dla najmniejszych rzeczy, co nie przeszkadza, że robi kleksy w listach. Któregoś dnia mówił mi, że jadł *boskie* kartofle i że dostał *boską* lożę do teatru.

— Mówi po łacinie — podlicytował książę.

— Jak to po łacinie? — spytała księżna Parmy.

— Słowo honoru! Niech wasza wysokość spyta Oriany, czy ja przesadzam.

— Ależ tak! Kiedyś powiedział mi w jednym zdaniu, jednym haustem: „Nie znam bardziej wzruszającego przykładu *Sic transit gloria mundi*”<sup>767</sup>; powtarzam to zdanie waszej wysokości, bo po dwudziestu pytaniach, uciekając się do *lingwistów*, zdołaliśmy je zrekonstruować; ale Robert wyrzucił to na jednym oddechu, ledwie można było poznać, że

<sup>764</sup>jowiszowy — taki jak u rzymskiego boga Jowisza, gromowładnego władcy bogów i ludzi: surowy, groźny, władczy. [przypis edytorski]

<sup>765</sup>Dama kameliowa — tytułowa bohaterka powieści Aleksandra Dumasa (syna) z 1848: kurtyzana Małgorzata Gautier; pierwowzór bohaterki opery Giuseppe Verdiego *La Traviata* powstałej na podstawie tej powieści. [przypis edytorski]

<sup>766</sup>*au courant* (fr.) — na bieżąco. [przypis edytorski]

<sup>767</sup>*Sic transit gloria mundi* (łac.) — Tak przemija sława świata. [przypis edytorski]

to łacina, robił wrażenie figury z *Chorego z urojenia*<sup>768</sup>. I wszystko zmierzało do śmierci cesarzowej austriackiej!

— Biedna kobieta! — wykrzyknęła księżna Parmy. — Cóż to była za rozkoszna istota!

— Tak — odparła pani de Guermantes — trochę postrzelona, trochę zwariowana, ale to była bardzo dobra kobieta, pocziwa wariatka, bardzo miła, nigdy tylko nie mogłam zrozumieć, czemu ona sobie nie sprawi sztucznej szczęki lepiej dopasowanej, zawsze odklejała się jej przed końcem zdania i biedactwo musiało przerywać, aby nie połączyć szczęki.

— Ta Rachel wspominała mi o panu, mówiła, że młody Saint-Loup uwielbia pana, że woli nawet pana od niej — rzekł do mnie Prinz Von, jedząc równocześnie jak smok, z cerą czerwoną jak ćwikła, odsłaniając wszystkie zęby w ciągłym śmiechu.

— Ale w takim razie musi być zazdrosna o mnie i nie cierpieć mnie — przerwałem.

— Wcale nie, mówiła o panu dużo dobrego. Kochanka księcia de Foix byłaby może zazdrosna, gdyby on pana wołał od niej. Nie rozumie pan? Niech mnie pan odprowadzi do domu, wytłumaczę to panu.

— Nie mogę, idę o jedenastej do pana de Charlus.

— O, wczoraj zapraszał mnie na dziś na obiad, ale żebym nie przychodził po trzech kwadransach na jedenastą<sup>769</sup>. Ale jeżeli pan ma zamiar być u niego, może mnie pan odprowadzić choć do Komedii Francuskiej, będzie pan w peryferii<sup>770</sup> — rzekł książę, który myślał z pewnością, że to znaczy „w pobliżu” albo „w centrum”.

Ale rozszerzone oczy Prinza Von na szerokiej i pięknej czerwonej twarzy przestraszyły mnie; odmówiłem, powiadając, że przyjaciel ma po mnie wstąpić. Ta odpowiedź nie wydawała mi się niczym obrażającym. Prinz osądził zapewne inaczej, bo nigdy od tego czasu nie odezwał się do mnie.

— Muszę właśnie zajść do królowej Neapolu<sup>771</sup>, jaka ona musi być zmartwiona! — rzekła lub przynajmniej zdawało mi się, że rzekła księżna Parmy. Bo słowa jej doszły mnie jedynie poprzez owe inne, bliższe, skierowane do mnie (ale bardzo cicho) przez Prinza Von, który bał się może, że jeżeli będzie mówił głośniej, usłyszy go pan de Foix.

— Och, nie — odparła pani de Guermantes — ani trochę.

— Ani trochę! Ty zawsze wpadasz w ostateczności, Oriano — rzekł pan de Guermantes, wracając do roli skalistego brzegu, który przeciwstawiając się fali, zmusza ją, aby wyżej rzucała pióropusz piany.

— Błazej wie jeszcze lepiej ode mnie, że ja mówię prawdę — odparła Oriana — ale czuje się w obowiązku robić surowe miny z powodu jej wysokości i boi się, że ją ją gorsze.

— Och, nie, proszę cię — wykrzyknęła księżna Parmy, bojąc się, aby z jej powodu nie naruszono w czymkolwiek tych rozkosznych obiadów księżnej de Guermantes, zakazanego owocu, którego sama królowa szwedzka<sup>772</sup> nie miała jeszcze prawa pokosztować.

— Ależ ona samemu Błazejowi odpowiedziała, kiedy jej mówił z miną banalnie smutną: „Wasza królewska mość jest w żałobie: po kim, czy to jakieś wielkie zmartwienie?”. Odparła: „Nie, to nie jest wielka żałoba, to mała, malutka żałoba, to po siostrze”. To fakt, że ona jest zachwycona, Błazej wie bardzo dobrze; zaprosiła nas na wieczór tego samego dnia i dała mi dwie perły. Chciałabym, żeby traciła siostrę co dzień! Nie oplakuje śmierci siostry, ośmiewa ją do rozpuku. Powiada prawdopodobnie jak Robert, że: *Sic transit*, wreszcie sama już nie wiem — dodała przez skromność Oriana, mimo że wiedziała bardzo dobrze.

<sup>768</sup>*Chory z urojenia* — komedia Moliera z 1673, ostatnie jego dzieło, opowiadające historię hipochondrycznego Argana; w scenie ceremonii promocji na doktora medycyny, wyśmiewającej pozory uczoności, wypowiedzi postaci są gęsto naszpikowane łacińskimi słowami, niekiedy z dodanymi rodzimymi końcówkami gramatycznymi. [przypis edytorski]

<sup>769</sup>trzy kwadransy na jedenastą (daw.) — trzy kwadransy po dziesiątej, czyli za piętnaście minut jedenasta. [przypis edytorski]

<sup>770</sup>peryferia (z łac., lm) — zewnętrzna część czegoś, krańce; odległe od centrum, dzielnice na krańcach miasta. [przypis edytorski]

<sup>771</sup>królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>772</sup>królowa szwedzka — Zofia Wilhelmina Nassau (1836–1913), królowa Szwecji i Norwegii (od 1873). [przypis edytorski]

Zresztą pani de Guermantes mówiła to tylko dla konceptu, i to bardzo lichego, bo królowa Neapolu, jak księżna d'Alençon, również tragicznie zmarła, miała wielkie serce i szczyrze opłakiwała swoich. Pani de Guermantes za dobrze знаła szlachetne siostry bawarskie, swoje kuzynki, aby tego nie wiedzieć.

— Chciałby nie wracać do Maroka — rzekła księżna Parmy, znów chwytając się imienia Roberta, które jej, bardzo mimo woli, podawała na kształt żerdzi pani de Guermantes. — Sądzę, że ty znasz generała de Monserfeuil.

— Bardzo mało — rzekła Oriana, która znała nader blisko tego wojskowego.

Księżna Parmy wytłumaczyła, o co chodzi Robertowi.

— Mój Boże, jeśli go zobaczę... może się zdarzyć, że go spotkam — odparła księżna, aby się nie wydawało, że odmawia; zdawałoby się, że jej stosunki z generałem de Monserfeuil rozluźniły się nagle, odkąd chodziło o to, aby go o coś poprosić. Ta niepewność nie wystarczyła jeszcze księciu, który przerywając żonie, rzekł:

— Wiesz dobrze, że go nie zobaczysz, Oriano; a potem, już go prosiłaś o dwie rzeczy, których nie zrobił. Moja żona ma szal usłużności — dodał coraz bardziej wściekły, aby zmusić księżną Parmy do cofnięcia swojej prośby tak, aby to nie zostawiło wątpliwości co do usłużności Oriany i aby księżna Parmy złożyła rzecz na jego nieużyteczność. — Robert mógłby uzyskać, co chce, od Monserfeuila. Tylko ponieważ sam nie wie, czego chce, prosi go przez nas, bo wie, że nie ma lepszego sposobu, aby rzecz pogrzebać. Oriana za często prosiła o coś generała. Teraz jej prośba to najpewniejsza gwarancja odmowy.

— Och, w tych warunkach lepiej, żeby Oriana nie tykała tego — rzekła księżna Parmy.

— Oczywiście — zakończył książę.

— Biedny generał, znowu przepadł przy wyborach — rzekła księżna Parmy, aby odmienić rozmowę.

— Och, to nic poważnego, to dopiero siódmy raz — rzekł książę, który, sam zmuszony zrezygnować z polityki, dosyć lubił niepowodzenia wyborcze innych.

— Pocieszył się, robiąc nowe dziecko swojej żonie.

— Jak to! Ta biedna pani de Monserfeuil jest znów w ciąży! — wykrzyknęła księżna Parmy.

— Ależ tak — odparła pani de Guermantes — to jedyny okręg, gdzie biedny generał ani razu się nie poszkapił.

Miałem być w przyszłości stałym gościem — bodaj w bardzo małym kółku — tych obiadów, których uczestników wyobrażałem sobie niegdyś niby apostołów w Sainte-Chapelle<sup>773</sup>. Zbierali się tam w istocie, jak pierwsi chrześcijanie, nie tylko aby dzielić pokarm materialny (zresztą wyborny), ale dla rodzaju biesiady towarzyskiej; tak iż w niewiele obiadów przyswoilem sobie znajomość wszystkich przyjaciół moich gospodarzy, przyjaciół, którym mnie przedstawiali z odcieniem życzliwości tak wymownej (jak kogoś, kogo by od wszech czasów po ojcowsku kochali), że nie było ani jednego pośród nich, który by nie sądził, że obraziłby księżną i księcia, gdyby wydając bal, nie pomieścił mnie na liście; równocześnie zaś, spijając Yquem<sup>774</sup> z piwnicy Guermantów, delektowałem się ortolanami przyrządzanymi wedle rozmaitych recept, które książę wypracował i roztropnie odmieniał. Jednakże dla kogoś, kto już niejedną raz zasiadał przy mistycznym stole, gryzienie tych ptaków nie było nieodzowne. Starzy przyjaciele księstwa de Guermantes zachodzili po obiedzie — *en cure-dents*<sup>775</sup>, powiedziała pani Swann — bez zaproszenia i wypijali w zimie filiżankę kwiatu lipowego w blaskach wielkiego salonu, w lecie zaś szklankę oranżady w mroku prostokątnego ogródka.

Nigdy u państwa de Guermantes w ciągu tych poobiednich sjest w ogrodzie nie widziano nic innego prócz oranżady. Miała ona coś rytualnego. Przydać do niej inne

<sup>773</sup>*Sainte-Chapelle* (fr.: Święta Kaplica) — dwukondygnacyjna gotycka kaplica zamkowa w centrum dawnej siedziby królewskiej na wyspie Cité w Paryżu; ściany górnej kondygnacji zdobią figury apostołów. [przypis edytorski]

<sup>774</sup>*Château d'Yquem* — francuskie słodkie wino z Sauternes, w pld. części Akwitarii. [przypis edytorski]

<sup>775</sup>*en cure-dents* (fr.) — dosł.: na wykałaczki; zaraz po posiłku. [przypis edytorski]

chłodniki zdawałoby się spaceniem tradycji, tak jak wielki raut w Faubourg Saint-Germain nie jest już rautem, jeżeli będzie komedia lub muzyka. Trzeba, aby się zdawało — choćby było pięćset osób — że się przyszło po prostu odwiedzić księżnę de Guermantes. Podziwiano moje wpływy, bo zdołałem zdublować oranżadę karafką soku z wiśni lub z gruszek. Znienawidziłem z tej przyczyny księcia d'Agrigente; był jak wszyscy ludzie pozbawieni wyobraźni, ale nie zachłanności, którzy dziwią się temu, co pijecie, i chcą też trochę. Tak iż za każdym razem pan d'Agrigente, uszczuplając moją porcję, psuł mi przyjemność. Bo tego soku owocowego nigdy nie jest dość dużo, aby ugasić pragnienie. Nigdy się nie uprzykrzy ta smakowa transpozycja koloru owocu, który, ugotowany, cofa się niejako w porę kwiatów. Sok taki, purpurowy jak sad na wiosnę lub bezbarwny i świeży jak wietrzyk pod drzewami owocowymi, można wdychać i oglądać kropla po kropli, a pan d'Agrigente regularnie przeszkadzał mi się nim nasycić.

Mimo tych kompotów tradycyjna oranżada przetrwała, zarówno jak kwiat lipowy. Pod tą skromną postacią dopełniała się komunია<sup>776</sup> towarzyska. I w tym z pewnością przyjaciele państwa de Guermantes zostali jednak — jak ich sobie wyobrażałem zrazu — bardziej rozmaici, niżby mi kazało przypuszczać moje rozczarowanie co do nich. Wielu starców kosztowało u księżnej, wraz z niezmiennym napojem, przyjęcia często niezbyt milego. Otóż jeżeli to znosili, to nie przez snobizm, sami będąc z tych, ponad których nikt nie mógł być wyższy, ani przez miłość zbytku; o ile lubili zbytek, w niższych regionach socjalnych znaleźliby jeszcze wspanialszy, bo tegoż samego wieczora urocza i przebogata bankierowa dałaby wszystko, aby ich mieć na olśniewającym polowaniu, które przez dwa dni wyprawiała dla króla hiszpańskiego<sup>777</sup>. Odmówili przecież i przyszli na los szczęścia dowiedzieć się, czy pani de Guermantes jest w domu. Nie byli nawet pewni, czy znajdują tam opinie absolutnie zgodne z własnymi lub uczucia szczególnie gorące; pani de Guermantes rzucała czasem w przedmiocie sprawy Dreyfusa, republiki, praw antyreligijnych — lub nawet pod adresem ich samych, ich niedomagań, nudy ich rozmowy — uwagi, które trzeba im było przelknąć, udając, że nic nie zauważyli. Bez wątpienia, o ile się trzymali jej salonu, przyczyną tego był wyrafinowany nawyk światowych smakoszków, świadomość doskonałej i nienagannej jakości społecznego menu, o smaku znanym, bezpiecznym i soczystym, bez zapraw i bez fałszu; menu, którego początek i historię znali równie dobrze jak ta, która ich nim raczyła, będąc w tej mierze bardziej „urodzeni”, niż przypuszczali sami.

Otóż między tymi gośćmi, którym mnie przedstawiono po obiedzie, przypadkowo znalazł się ów generał de Monserfeuil, o którym mówiła księżna Parmy, a którego pani de Guermantes, mimo że był jednym z wiernych jej salonu, nie spodziewała się tego wieczora. Skłonił się, usłyszawszy moje nazwisko, tak jakbym był przewodniczącym Najwyższej Rady Wojennej. Sądziłem, że jeżeli księżna Oriana niemalże odmówiła polecenia swego siostrzeńca panu de Monserfeuil, było to skutkiem jakiejś wrodzonej nieużytości, w której książę — jak w dowcipie, byle nie w miłości — był partnerem żony. Obojętność ta zdawała mi się tym bardziej naganna, ile że z pewnych słów, które się wymknęły księżnej Parmy, odniosłem wrażenie, że posterunek Roberta jest niebezpieczny i że przeczorniej byłoby postarać się o jego zmianę. Ale tu oburzyła mnie już istotna niegodziwość pani de Guermantes; kiedy bowiem księżna Parmy ofiarowała się, że ona sama, na własny rachunek, pomówi z generałem, Oriana zrobiła wszystko, aby odwrócić jej wysokość od tego zamiaru.

— Ale nie — wykrzyknęła — Monserfeuil nie ma najmniejszego wpływu w nowym rządzie. Szkoda zachodu.

— Boję się, że on nas może usłyszeć — szepnęła księżna Parmy, starając się skłonić Oriane, aby mówiła ciszej.

— Niech się wasza wysokość nie boi, głuchy jest jak pień — rzekła, nie zniżając głosu księżna, którą generał słyszał doskonale.

— Bo zdaje mi się, że posterunek pana de Saint-Loup jest nie bardzo bezpieczny — rzekła księżna Parmy.

<sup>776</sup>komunia (z łac.) — tu: uczestnictwo, wspólność; emocjonalne utożsamienie się z czymś. [przypis edytorski]

<sup>777</sup>król hiszpański — Alfons XIII (1886–1941), król Hiszpanii do 1931. [przypis edytorski]



— Cóż wasza wysokość chce, jest w tym położeniu co wielu innych, z tą różnicą, że on sam prosił, aby go tam wysłano. A przy tym tak nie jest, nie ma żadnego niebezpieczeństwa; inaczej, księżna rozumie, że sama bym się w to wdała. Byłabym o tym pomówiła z generałem Saint-Joseph w czasie obiadu. On jest o wiele wpływowszy, i co za pracowitość! Widzi wasza wysokość, już odszedł. Zresztą to byłoby o wiele mniej drażliwe niż z tym, który ma trzech synów właśnie w Maroku i nie chciał się starać o ich przeniesienie; mógłby się na to powołać. Skoro waszej wysokości zależy na tym, pomówię z generałem Saint-Joseph... jeżeli go zobaczę, albo z Beautreillis. Ale jeżeli ich nie zobaczę, niech wasza wysokość zanadto nie biada nad Robertem. Wytłumaczono nam kiedyś, gdzie to jest. Ja myślę, że nigdzie nie mogłoby mu być lepiej.

— Co za ładny kwiat, nigdy nie widziałam podobnego, tylko u ciebie, Oriano, zdarzają się podobne cuda — rzekła księżna Parmy, która z obawy, aby generał de Monserfeuil nie usłyszał księżnej, chciała odmienić rozmowę.

Poznałem roślinę z gatunku tych, które Elstir malował przy mnie.

— Zachwycona jestem, że się podobają waszej wysokości; są urocze, proszę popatrzeć na tę aksamitną obwódkę lila na szyi; tylko, jak się to zdarza osobom bardzo ładnym i bardzo dobrze ubranym, brzydko się nazywają i śmierzdzą. Mimo to lubię je bardzo. Toteż zasmuca mnie trochę, że muszą umrzeć.

— Ależ one są w doniczce, to nie są cięte kwiaty — rzekła księżna.

— Nie — odparła Oriana, śmiejąc się — ale to na jedno wychodzi, skoro to są damy! To gatunek kwiatów, gdzie damy i panowie nigdy nie znajdują się na jednej łodydze. Jestem w położeniu ludzi, którzy mają suczkę. Trzeba by mi męża dla moich kwiatów, inaczej nie będę miała młodych!

— Jakie to ciekawe. Ale w takim razie w naturze...

— No tak! Są pewne owady, które się trudnią dopełnianiem małżeństwa, jak u koronowanych głów, przez prokurację<sup>778</sup>; tak że oblubieniec i oblubienica nie widzieli się na oczy. Toteż niech mi księżna wierzy, że zalecam służącemu, aby wystawiał tę roślinę, ile tylko może, w oknie, od dziedzińca czy od ogrodu, w nadziei, że się zjawi nieodzowny owad. Ale to wymagałoby takiego trafu! Niech wasza wysokość pomyśli, trzeba by, aby właśnie wracał od osoby tego samego gatunku, a odmiennej płci, i aby mu przyszło na myśl rzucić bilet wizytowy u mnie. Nie zjawił się dotąd; zdaje mi się, że moja roślina wciąż ma swój wianek dziewiczy; przyznaję, że wołałabym trochę więcej rozpusty. O, to tak jak to piękne drzewo, tam w dziedzińcu; umrze bezdzietnie, bo to jest gatunek bardzo rzadki w naszych krajach. U niego zadanie dopełniania związku bierze na siebie wiatr; ale mur jest trochę za wysoki.

— W istocie — rzekł pan de Bréauté — powinna by księżna zniżyć mur bodaj o kilka centymetrów, to by wystarczyło. Trzeba w tych sprawach umieć brać się do rzeczy. Zapach wanilii, którym rozkoszowaliśmy się przed chwilą w pysznych lodach księżnej, pochodzi z rośliny, która się zowie wanilią. Ta wydaje wprawdzie równocześnie kwiaty męskie i żeńskie, ale obecność jakby twardej ścianki między nimi uniemożliwia wszelką komunikację. Toteż nie było sposobu uzyskać z niej owoców aż do dnia, w którym młody Murzyn, rodem z Reunionu i nazwiskiem Albins<sup>779</sup> (co, nawiasem mówiąc, jest dosyć komiczne dla czarnego, bo to znaczy „biały”), wpadł na pomysł, aby za pomocą małego cięcia ułatwić stosunki rozdzielonym narządom.

— Babal jest boski — wykrzyknęła księżna Oriana — on wie wszystko.

— Ale i ty, Oriano, nauczyłaś mnie rzeczy, o których mi się nie śniło — rzekła księżna Parmy.

— Powiem waszej wysokości, że to Swann kształcił mnie w botanice. Czasem, kiedy się nam nie chciało iść na jakąś herbatkę lub na jakiś „poranek”, jechaliśmy za miasto; pokazywał mi nadzwyczajne małżeństwa kwiatów, o wiele zabawniejsze niż małżeństwa

<sup>778</sup>prokuracja (daw.; z łac.) — zastępstwo; pełnomocnictwo; przez prokurację: za pośrednictwem pełnomocnika. [przypis edytorski]

<sup>779</sup>Albins — popr. *Albius*, *Edmond* (1829–1880): ogrodnik z francuskiej wyspy Reunion (na zach. od Madagaskaru); urodzony w niewoli, w wieku 12 lat wynalazł technikę szybkiego, ręcznego zapyłania storczyków waniliowych, co umożliwiło opłacalną uprawę tych roślin z dala od rodzimego dla nich Meksyku, gdzie są zapyłane przez miejscowe owady; kiedy Francja zniosła niewolnictwo w swoich koloniach, przyjął nazwisko „Albius” (łac.: biały), być może od koloru kwiatów storczyka waniliowego; zmarł w nędzy. [przypis edytorski]

ludzi, bez *lunchu* i bez zakrystii. Ale nigdy nie było czasu jechać zbyt daleko. Teraz, kiedy są samochody, to byłoby urocze. Na nieszczęście, wśród tego on sam popełnił małżeństwo, jeszcze bardziej zdumiewające, i to zepsuło wszystko. Och! Wasza wysokość, życie to jest okropna rzecz; człowiek trawi lata na robieniu rzeczy, które go nudzą, a kiedy przypadkowo pozna się kogoś zdolnego nam pokazać rzeczy interesujące, ten ktoś musi się ożenić jak Swann! Mając do wyboru rezygnację z botanicznych spacerów a stosunki z osobą kompromitującą, wybrałam pierwszą z tych niedoli. Zresztą, w gruncie, nie potrzeba by chodzić tak daleko. Zdaje się, że nie dalej niż w moim ogródku dzieje się w biały dzień więcej nieprzyzwoitych rzeczy niż w nocy... w Lasku Bulońskim. Tylko nie dostrzega się tego, bo między kwiatami odbywa się to bardzo po prostu; widzi się drobny pomarańczowy deszczyk albo bardzo zapyloną muchę, która ociera nóżki albo bierze tusz z pyłków, zanim zanurzy się w kwiat. I już po wszystkim, stało się!

— Komoda, na której stoi ta roślina, jest także wspaniała, to *empire*<sup>780</sup>, o ile mi się zdaje — rzekła księżna Parmy, która, nieobeznana z pracami Darwina<sup>781</sup> i jego następców, niezbyt chwytła sens żarcików Oriany.

— Prawda, to piękne! Szczęśliwa jestem, że się to księżnej podoba — odparła pani de Guermantes. — Wspaniały egzemplarz. Powiem księżnej, że ja zawsze uwielbiałam styl *empire*, nawet wówczas kiedy to nie było w modzie. Przypominam sobie, że w Guermantes naraziłam się na drwiny teściowej, bo kazałam ściągnąć ze strychu wszystkie wspaniałe *empiry*, jakie Błażej odziedziczył po ciotce Montesquiou, i umeblowałam skrzydło pałacu, gdzie mieszkałam.

Pan de Guermantes uśmiechnął się. Musiał sobie przypomnieć, że rzecz odbyła się w sposób bardzo odmienny. Ale żarty księżnej des Laumes na temat złego gustu jej teściowej należały do tradycji sięgającej krótkiego czasu, kiedy książę był zakochany w żonie; kiedy zaś miłość pierzchła, przeżyło ją pewne lekceważenie dla ograniczenia umysłowego starej księżnej — lekceważenie niewykluczające bynajmniej przywiązania i szacunku.

— Państwo Iéna mają taki sam fotel z inkrustacjami Wedgwooda<sup>782</sup>; piękny, ale ja znacznie wolę mój — rzekła księżna tym samym tonem bezstronności, co gdyby nie posiadała żadnego z tych dwóch mebli. — Uznaję zresztą, że oni mają wspaniałe rzeczy, których ja nie mam.

Księżna Parmy zachowała milczenie.

— Ale prawda, wasza wysokość nie zna ich kolekcji. Och! Powinna by się księżna absolutnie wybrać kiedyś tam ze mną. To jedna z najwspanialszych rzeczy w Paryżu, to jest żywe muzeum.

Propozycja ta była jednym z najbardziej stylowych („styl Guermantes”) zuchwałstw, gdyż księstwo Iéna byli dla księżnej Parmy czystymi uzurpatorami: syn ich nosił, jak jej syn, tytuł księcia de Guastalla! Toteż pani de Guermantes, wymawiając te słowa, mimo woli spojrzała na innych gości rozbawionym i roześmianym wzrokiem, tak dalece kult własnej oryginalności przeważał jeszcze względy, jakie miała dla księżnej Parmy. I oni również silili się na uśmiech, równocześnie przerażeni, zachwyceni, a zwłaszcza uszczęśliwieni tym, że byli świadkami „ostatniego pomysłu Oriany” i że będą go mogli opowiadać „na ciepło”. Zdumienie ich było zresztą umiarkowane; wiedzieli, że Oriana posiada sztukę wyzyskiwania wszystkich przesądów Courvoisierów dla tym pikantniejszych i miłszych sukcesów. Toż nie dawniej jak przed kilku laty zdołała spiknąć u siebie księżniczkę Matyldę<sup>783</sup> z księciem d’Aumale<sup>784</sup>, tym, który niegdyś napisał do rodzzonego brata księżniczki sławny list: „W mojej rodzinie wszyscy mężczyźni są odważni, a kobiety

<sup>780</sup>*empire* (fr.) — styl cesarstwa; styl w sztuce, meblarstwie, modzie itp., odmiana późnego klasycyzmu związana z rządami Napoleona I we Francji; wykorzystywał wzory i motywy sztuki staroż. Grecji, Rzymu i Egiptu, np. sfinksy, gryfy, kariatydy, a także motyw łabędzia (ulubionego ptaka cesarzowej Józefiny), inicjał Napoleona w wieńcu laurowym, motyw pszczoły, gwiazdy, orłów cesarskich. [przypis edytorski]

<sup>781</sup>*Darwin*, *Charles Robert* (1809–1882) — angielski przyrodnik, twórca teorii ewolucji biologicznej. [przypis edytorski]

<sup>782</sup>*Wedgwood* — angielskie przedsiębiorstwo produkujące porcelanę, ceramikę i luksusowe akcesoria, założone w 1759 przez Josiaha Wedgwooda (1730–1795), dziadka Charlesa Darwina. [przypis edytorski]

<sup>783</sup>*księżniczka Matylda* — Matylda Letycja Bonaparte (1820–1904), córka byłego króla Westfalii Hieronima, najmłodszego brata Napoleona I, i jego drugiej żony, Katarzyny Wirtemberskiej. [przypis edytorski]

<sup>784</sup>*Henryk Orleański*, *książę d’Aumale* (1822–1897) — francuski generał i polityk, syn króla Ludwika Filipa I, ostatniego monarchy Francji z rodu Burbonów. [przypis edytorski]

czyste”. Otóż książęta krwi pozostają książętami nawet w chwili, gdy zdają się zapominać o tym; w rezultacie książę d’Aumale i księżniczka Matyllda tak się sobie spodobali u pani de Guermantes, że bywali potem u siebie, z ową zdolnością zapominania przeszłości, jakiej dowiódł Ludwik XVIII<sup>785</sup>, robiąc swoim ministrem Fouchégo<sup>786</sup>, który głosował za śmiercią jego brata. Pani de Guermantes żywiła ten sam zamiar zbliżenia księżnej Murat<sup>787</sup> z królową Neapolu<sup>788</sup>. Na razie księżna Parmy zdawała się równie zakłopotana, jak mogliby być zakłopotani dziedzice korony Niderlandów i Belgii (książę Oranii i książę Brabantu), gdyby im chciano przedstawić pana de Mailly-Nesle, księcia Oranii, oraz pana de Charlus, księcia Brabantu. Ale już Oriana, którą Swann i Charlus (mimo że ten wytrwał w ignorowaniu książąt Iéna) z wielkim trudem nauczyli lubić meble *empire*, wykrzyknęła:

— Całkiem szczerze, nie umiem powiedzieć, jak wasza wysokość będzie zachwycona. Przyznaję, że styl *empire* zawsze robił na mnie głębokie wrażenie. Ale u tych Iéna to doprawdy istna halucynacja. To coś... jak by to księżnej powiedzieć... coś niby przyniesione falą z wyprawy egipskiej<sup>789</sup>... i ten powiew starożytności, wszystko to, co zalewa nasze domy, sfinksy usadowione w nogach foteli, węże owijające się o kandelabry, olbrzymia muza, która trzyma mały świecznik, aby nam świecić do partyjki *bouillotte*<sup>790</sup>, lub wdrapała się spokojnie na kominek i opiera się o zegar; a potem te wszystkie lampy pompejańskie, łóżeczka w kształcie łodzi, wyglądające tak, jakby je znaleziono w Nilu, gotowe wyłonić małego Mojżesza, te antyczne kwadrygi galopujące po nocnych stolikach...

— Nie siedzi się zbyt dobrze na meblach *empire* — zaryzykowała księżna Parmy.

— Nie — odparła Oriana — ale lubię — dodała z uśmiechem — lubię źle siedzieć na tych mahoniowych fotelach pokrytych wiśniowym aksamitem lub zielonym jedwabiem. Lubię ten brak komfortu wojowników, którzy pojmują tylko krzesło kurulne<sup>791</sup>, którzy krzyżują różgi liktorskie<sup>792</sup> i piętrzą laury na środku salonu. Zapewniam waszą wysokość, że u Iénów nie myśli się ani przez chwilę o tym, jak się siedzi, widząc przed sobą zwalistą Wiktorię<sup>793</sup> wymalowaną *al fresco*<sup>794</sup> na ścianie. Mój małżonek będzie mnie uważał za bardzo złą rojalistkę, ale ja jestem w istocie bardzo nieprawomyślna i ręczę, że u tych ludzi człowiek dochodzi do tego, że kocha wszystkie te „N”, wszystkie te pszczoły. Mój Boże, dosyć długo królowie nie psuli nas zbyt chwały, toteż ci rycerze, którzy znosili tyle wieńców laurowych, że obwieszali nimi nawet poręcze krzesel, uważam, że to ma swój sztyk! Wasza wysokość powinna by tam iść.

<sup>785</sup>Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów (od 1814), brat Ludwika XVI, skazanego i ściętego podczas rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>786</sup>Fouché, Joseph (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, głosował za skazaniem Ludwika XVI na śmierć, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

<sup>787</sup>księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>788</sup>królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>789</sup>wyprawa egipska (1798–1801) — ekspedycja wojenna Napoleona Bonaparte do Egiptu, mająca na celu odcięcie Anglii od Indii; w wyprawie wzięło udział 167 naukowców; przywiezione z Egiptu zabytki oraz wydane po wyprawie bogato ilustrowane publikacje dały początek fascynacji kulturą starożytnego Egiptu i narodzinom egiptologii w Europie. [przypis edytorski]

<sup>790</sup>bouillotte — dawna francuska hazardowa gra karciana, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>791</sup>krzesło kurulne — składany taboret o wygiętych, nożycowych nogach; w starożytnym Rzymie przysługiwało królom, a w okresie republiki wyższym urzędnikom. [przypis edytorski]

<sup>792</sup>różgi liktorskie — w starożytnym Rzymie najwyższym urzędnikom państwowym w miejscach publicznych jako asysta towarzyszyli funkcjonariusze zwani *liktorami*, nosząc przed nimi oznaki władzy: przewiązane wiązki różg, między którymi zatknięty był topór. [przypis edytorski]

<sup>793</sup>Wiktoria (mit. rzym.) — bogini zwycięstwa. [przypis edytorski]

<sup>794</sup>al fresco (wł.) — dosł.: na świeżo; technika malarstwa ściennego polegająca na malowaniu farbami na świeżym tynku, przed jego zaschnięciem. [przypis edytorski]

— Mój Boże, jeżeli tak uważasz — rzekła księżna Parmy — ale zdaje mi się, że to nie będzie łatwe.

— Ależ zobaczy wasza wysokość, że wszystko się ułoży bardzo dobrze. To są bardzo dobrzy ludzie i wcale niegłupi. Zaprowadziliśmy tam panią de Chevreuse — dodała księżna, znając potęgę przykładu — była zachwycona. Syn jest nawet bardzo miły... To, co powiem, nie jest może bardzo przyzwoite — dodała — ale on ma pokój, a zwłaszcza łóżko, gdzie lubiłoby się spać — bez niego! Jeszcze mniej przyzwoite jest, że byłam go raz odwiedzić, kiedy był chory i w łóżku. Obok niego, na poręczu łóżka była wyrzeźbiona długa wyciągnięta syrena, urocza, z ogonem z perłowej masy, trzymająca w ręku coś w rodzaju lotosu. Ręczę księżnej — dodała pani de Guermites wolniej, aby lepiej jeszcze uwydatnić słowa, które jakby rzeźbiła ruchem pięknych warg, wrzecionem długich wyrazistych rąk, i wlepiając w księżnę Parmy łagodne, uparte spojrzenie — że z tymi gałązkami palmy i z tym wieńcem złotym tuż obok to było wzruszające, to była zupełnie kompozycja *Młodego człowieka i śmierci* Gustawa Moreau<sup>795</sup> (wasza wysokość zna z pewnością to arcydzieło).

Księżna Parmy, która nie знаła nawet nazwiska malarza, potrząsnęła gwałtownie głową i uśmiechnęła się żarliwie, aby wyrazić swój podziw dla tego obrazu. Ale żywość jej mimiki nie zdołała zastąpić tego błysku, którego brakuje naszym oczom, kiedy nie wiemy, o czym ktoś do nas mówi.

— To podobno ładny chłopiec? — spytała.

— Nie, bo jest podobny do tapira<sup>796</sup>. Czy są trochę niby oczy królowej Hortensji z abażuru. Ale prawdopodobnie uznał, że byłoby trochę śmieszne dla mężczyzny rozwijać to podobieństwo, toteż gubi się to w jego wywoskowanych policzkach, dających mu po trosze minę mameluka<sup>797</sup>. Czuć, że froter musi je przejeżdżać co rano. Swann — dodała, wracając do łóżka młodego księcia — uderzony był podobieństwem tej syreny do *Śmierci* Gustawa Moreau. Ale zresztą — dodała szybciej, ale poważnie, aby tym lepiej rozśmieszyć — nie mamy się co przejmować, bo to zwykły katar i młodzieniec jest zdrow jak ryba.

— Powiadają, że on jest snob? — spytał pan de Bréauté z niezyczliwą, podnieconą miną, oczekując odpowiedzi równie ścisłej, co gdyby powiedział: „Mówiono mi, że ma tylko cztery palce u ręki, czy to prawda?”

— Mój B... oże, n... ie — odparła pani de Guermites z uśmiechem łagodnego poślazania. — Może troszkę snob z pozoru, bo jest bardzo młody, ale dziwiłabym się, gdyby miał być snob naprawdę, bo on jest inteligentny — dodała tak, jakby dla niej snobizm był czymś nie do pogodzenia z inteligencją. — On jest sprytny, czasem bywał zabawny — rzekła jeszcze, śmiejąc się z miną smakoszki i znawczyni, tak jakby wydanie sądu, że ktoś jest zabawny, wymagało wesołej miny lub jakby jakiś concept księcia de Guastalla przypomniawszy jej w tej chwili. — Zresztą, ponieważ go nigdzie nie przyjmują, ten snobizm niewiele miałby okazji — dodała, nie zastanawiając się, że nie bardzo zachęca księżną Parmy.

— Myślę, co powie książę Gilbert, który nazywa ją „pani Iéna”, jeśli się dowie, że ja byłam u niej.

— Jak to! — wykrzyknęła żywo pani de Guermites — księżna wie, że to myśmy ustąpili Gilbertowi (żałowała tego gorzko teraz!) cały pokój do gry *empire*, który mieliśmy po Quiou-Quiou i który jest cud wspaniałości! Nie było tutaj miejsca, chociaż zdaje mi się, że tu wyglądało to lepiej niż u niego. To skończenie piękne, pół etruskie<sup>798</sup>, pół egipskie...

<sup>795</sup> Moreau, Gustave (1826–1898) — francuski malarz i grafik, jeden z czołowych twórców symbolizmu; autor m.in. obrazu *Młody człowiek i śmierć* (*Le Jeune Homme et la mort*, 1865), powstałego w holdzie dla jego zmarłego przyjaciela. [przypis edytorski]

<sup>796</sup> tapir — ssak lasów tropikalnych, o niewielkiej trąbie wykształconej z nosa i wargi. [przypis edytorski]

<sup>797</sup> mameluk — w dawnych państwach muzułmańskich: państwowy niewolnik-żołnierz, szczególnie służący w gwardii przybocznej władcy; w 1250 mamelucy przejęli władzę w Egipcie, którym rządili do 1517; nazwę mameluków gwardii cesarskiej nosiła również jednostka lekkiej kawalerii pochodzenia egipskiego, stworzona przez Napoleona Bonapartego po powrocie z Egiptu, wchodząca w skład armii francuskiej w latach 1801–1815. [przypis edytorski]

<sup>798</sup> etruski — odnoszący się do Etrusków; *Etruskowie*: lud zamieszkujący w starożytności północną Italię (Etrurię), początkowo dominujący nad Rzymianami, w III w. p.n.e. całkowicie przez nich podbity i wchłonięty. [przypis edytorski]

— Egipskie? — spytała księżna Parmy, której słowo „etruskie” niewiele mówiło.

— Tak, oba po trosze. Swann mówił nam to, wytłumaczył mi, tylko że ja, widzi księżna, jestem wielki nieuk. A potem, w gruncie, wie wasza wysokość, trzeba sobie powiedzieć, że Egipt *empire* nie ma żadnego związku z prawdziwym Egiptem ani ich Rzymianie z Rzymianami, ani ich Etruria...

— Doprawdy! — rzekła księżna Parmy.

— Absolutnie, to tak jak to, co nazywano kostiumem Louis XV za Drugiego Cesarstwa, w młodości Anny de Mouchy<sup>799</sup> lub matki kochanego Brigode<sup>800</sup>. Przed chwilą Błażej wspomniał Beethovena. Grano nam któregoś dnia jedną jego rzecz, bardzo ładną zresztą, trochę zimną, gdzie jest temat rosyjski. To doprawdy wzruszające, że on to uważał za rosyjskie. I tak samo malarze chińscy myśleli, że kopią Belliniego. Zresztą nawet w tym samym kraju, za każdym razem, kiedy ktoś spojrzy na rzeczy w sposób nowy, cztery czwarte ludzi nie widzi nic z tego, co on im pokazuje. Trzeba co najmniej czterdziestu lat, aby się nauczyli rozróżniać.

— Czterdziestu lat! — wykrzyknęła księżna Parmy, przerażona.

— Ależ tak — mówiła Oriana, akcentem swoich słów (będących niemal powtórzeniem moich, bo właśnie rozwijałem przed nią pokrewne myśli) stwarzając wrażenie tego, co w drukarstwie nazywa się kursywą — to jest coś niby pierwszy osamotniony egzemplarz gatunku, który jeszcze nie istnieje, a którego będzie pełno, osobnik obdarzony pewnym zmysłem, którego rodzaj ludzki w jego epoce nie posiada. Nie bardzo mogę cytować samą siebie, bo ja, przeciwnie, zawsze kochałam od początku wszystkie interesujące objawy, choćby były nie wiem jak nowe. Ale świeżo byłam z wielką księżną w Luwrze; przechodziliśmy koło *Olimpii* Maneta. Teraz się nikt temu nie dziwi. To wygląda na Ingres! A przecież Bóg wie, ile ja musiałam kopii kruszyć o ten obraz, w którym, nie powiem, żebym lubiła wszystko, ale którego autor to jest jednak ktoś! Jego miejsce nie jest może całkiem w Luwrze...

— Czy dobrze ma się wielka księżna<sup>801</sup>? — spytała księżna Parmy, której ciotka cara była nieporównanie bardziej znajoma niż model Maneta.

— Tak, mówiłyśmy o waszej wysokości. W gruncie — ciągnęła Oriana, wciąż trwając przy swojej myśli — faktem jest, że jak powiada szwagier Palamed, istnieje pomiędzy nami a wszelką inną osobą ściana różnego języka. Uznaję zresztą, że dla nikogo nie jest to tak bardzo prawdziwe jak dla Gilberta. Jeżeli księżnę bawiłoby iść do Iénów, wasza wysokość ma za wiele rozumu, aby chcieć uzależniać swoje postęпки od tego, co o nich może pomyśleć ten nieborak, który jest bardzo kochanym pocziwiną, ale który, ostatecznie, ma pojęcia z innego świata. Czuję się bliższa, jednogatunkowsza z moim stangretem, z moimi końmi niż z tym człowiekiem normującym wciąż swoje uczynki wedle tego, co by o jakiejś rzeczy pomyślano za Filipa Śmiałego<sup>802</sup> lub za Ludwika Otyłego<sup>803</sup>. Niech wasza wysokość pomyśli, że kiedy on się przechadza na wsi, odsuwa wieśniaków, z dobrotliwą miną, laską, mówiąc: „Precz, hultaje!”. Jestem w gruncie równie zdziwiona, kiedy on do mnie mówi, co gdyby się do mnie zwróciły któreś z owych „zwłok” strojących dawne gotyckie grobowce. Choć ten żywy kamień jest moim kuzynem, przeraża mnie, i mam tylko jedną myśl: zostawić go w jego średniowieczu. Poza tym uznaję, że nigdy nie zamordował nikogo.

— Spotkałem go właśnie na obiedzie u pani de Villeparisis — rzekł generał, ale bez uśmiechu i nie wchodząc w ton księżnej Oriany.

— Czy nie było tam pana de Norpois? — spytał Prinz Von, który wciąż myślał o Akademii.

— Owszem — odparł generał. — Mówił nawet o pańskim cesarzu.

<sup>799</sup> *Murat, Anna, księżna de Mouchy* (1841–1924) — córka Luciena Murata, wnuczka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, od 1865 żona Antoine’a de Noailles (1841–1909), księcia Mouchy. [przypis edytorski]

<sup>800</sup> *Brigode, Romain-Joseph de* (1775–1854) — francuski polityk. [przypis edytorski]

<sup>801</sup> *wielka księżna* — Maria Aleksandra z Meklemburgii-Schwerinu (1854–1920), znana też jako Miechen, która w 1874 wyszła za mąż za syna cara Aleksandra II, wielkiego księcia Włodzimierza Aleksandrowicza Romanowa; po ślubie dodała do swego imienia rosyjski patronimik od imienia swojego przodka, rosyjskiego cesarza Pawła I, i stała się odtąd znana jako wielka księżna Maria Pawłowna. [przypis edytorski]

<sup>802</sup> *Filip III Śmiały* (1245–1285) — król Francji (od 1270) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

<sup>803</sup> *Ludwik VI Gruby* (1081–1137) — król Franków (od 1108) z dynastii Kapetyngów. [przypis edytorski]

— Zdaje się, że cesarz Wilhelm<sup>804</sup> jest bardzo inteligentny, ale nie lubi malarstwa Elstira. Nie mam mu tego zresztą za złe — rzekła księżna — podzielam jego punkt widzenia. Mimo że Elstir zrobił mój piękny portret. A, pan go nie zna. To nie jest podobne, ale ciekawe. On sam jest interesujący w czasie pozowania. Zrobił ze mnie coś w rodzaju staruszki. To imituje *Regentki szpitala Halsy*<sup>805</sup>. Myślę, że pan zna te boskości, aby użyć wyrażenia drogiego memu siostrzeńcowi — rzekła, obracając się do mnie księżna, która mówiąc, poruszała lekko wachlarzem z czarnych piór. Wyprostowana na krześle, odrzucała szlachetnie głowę, bo, będąc wciąż wielką damą, robiła troszeczkę wielką damę. Odpowiedziałem, że byłem swego czasu w Amsterdamie i w Hadze, ale że, mając czas ograniczony, poniechałem Haarlemu, aby nie mieszać wszystkiego.

— A, Haga! Co za muzeum! — krzyknął pan de Guermantes.

Natrąciłem, że z pewnością podziwiał tam *Widok Delft Vermeera*<sup>806</sup>.

Ale książę był mniej wykształcony niż pyszny. Toteż odpowiedział tylko z arogancją miną — jak za każdym razem, kiedy ktoś wspominał jakieś dzieło w muzeum lub w Salonie, którego on sobie nie przypominał:

— Jeżeli jest godny widzenia, widziałem!

— Jak to! Pan był w Holandii, a nie był pan w Haarlemie! — wykrzyknęła księżna Oriana. — Ależ choćby pan nie miał więcej niż kwadrans czasu, to niesłychana rzecz do widzenia, te Halsy. Powiedziałabym, że gdyby ktoś je mógł oglądać tylko z imperiałki<sup>807</sup> omnibusu<sup>808</sup> bez zatrzymania się, gdyby były wystawione na ulicy, powinien by szeroko otwierać oczy.

Te słowa uderzyły mnie niemiłe, jako coś będącego zaprzeczeniem sposobu, w jaki się w nas kształtują wrażenia artystyczne; można by z powiedzenia księżnej wnosić, że nasze oko jest tu jedynie prostym aparatem do migawkowych zdjęć. Pan de Guermantes, szczęśliwy, że żona mówi tak biegle o rzeczach, które mnie interesują, patrzył na sławną postawę księżnej, słuchał, co mówiła o Halsie, i myślał: „Kuta jest we wszystkim. Ten młody człowiek może sobie powiedzieć, że ma przed sobą wielką damę w dawnym stylu, w całym znaczeniu tego słowa, taką, jakich nie ma dzisiaj”.

I tak widziałem ich oboje, wyrwanych z tego nazwiska „Guermantes”, w którym niegdyś wyobrażałem ich sobie wiodących niepojęte życie, teraz podobnych do innych mężczyzn i kobiet, zapóźnionych jedynie nieco w stosunku do współczesności, ale niejednak, jak tyle małżeństw z Faubourg Saint-Germain, gdy żona miała talent zatrzymać się na wieku złotym, a mąż miał nieszczęście wybrać z przeszłości niewdzięczną epokę: ona została jeszcze Louis XV, gdy mąż kultuwuje pompatycznie styl Louis-Philippe.

To, że pani de Guermantes była podobna do innych kobiet, przyniosło mi zrazu zawód, a potem, przez reakcję i przy współdziałaniu tylu dobrych win, niemal zachwyconie. Jakiś Don Juan d’Austria<sup>809</sup>, jakaś Izabella d’Este<sup>810</sup>, pomieszczeni dla nas w świecie imion, równie mało stykają się z wielką historią jak strona Méséglise ze stroną Guermantes. Izabella d’Este była z pewnością w rzeczywistości bardzo małą księżniczką, podobną do tych, które za Ludwika XIV nie miały żadnego specjalnego stanowiska na dworze. Ale ponieważ nam się ona wydaje czymś jedynym, a przez to nieporównanym, nie umiemy

<sup>804</sup>Wilhelm II (1859–1941) — cesarz niemiecki w latach 1888–1918. [przypis edytorski]

<sup>805</sup>Hals, Frans (ok. 1582–1666) — holenderski malarz, przedstawiciel baroku; tworzył głównie portrety indywidualne i grupowe; autor m.in. obrazu *Regentki domu staruszek w Haarlemie*, przedstawiającego grupę ubranych na czarno staruszek. [przypis edytorski]

<sup>806</sup>Vermeer, Johannes (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

<sup>807</sup>imperiałka (daw.) — wierzch dyliżansu pocztowego lub omnibusu konnego z miejscami pasażerskimi. [przypis edytorski]

<sup>808</sup>omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

<sup>809</sup>Juan de Austria, don (1547–1578) — hiszpański wódz, nieślubny syn cesarza Karola V Habsburga i Barbary Blomberg; od 1568 dowódca floty hiszpańskiej na Morzu Śródziemnym; w 1569 krwawo stłumił bunt ludności muzułmańskiej w Grenadzie; w 1571 dowodził flotą Ligi Świętej w wielkiej bitwie pod Lepanto; jako dowódca floty w 1573 zdobył Tunis. [przypis edytorski]

<sup>810</sup>Izabela d’Este (1474–1539) — włoska arystokratka, jedna z czołowych postaci włoskiego renesansu; córka Herkulesa I d’Este, księcia Ferrary i Modeny, oraz jego żony Eleonory Aragońskiej; od 1490 żona Franciszka II Gonzagi, markiza Mantui, pod jego nieobecność pełniła funkcję regentki; patronowała artystom, wyznaczała wzorce mody we Włoszech i Francji. [przypis edytorski]

jej sobie wyobrazić mniejszą od niego; tak iż kolacja z Ludwikiem XIV byłaby dla nas tylko czymś interesującym, gdy spotkanie z Izabellą d'Este pozwoliłoby nam w sposób nadprzyrodzony oglądać na własne oczy heroinę romansów. Otóż skoro studiując Izabellę d'Este i przeniósłszy ją cierpliwie z tego bajecznego świata w świat historii, stwierdzamy, że jej życie, jej myśli nie zawierały nic z owej tajemniczej dziwności, jaką nam zrazu sugerowało jej imię, raz przełknąwszy ów zawód, jesteśmy nieskończenie wdzięczni tej księżniczce, że miała o malarstwie Mantegny<sup>811</sup> wiadomości niemal równe wiedzy pana Lafenestre<sup>812</sup>, dotąd lekceważonej przez nas i uważanej — jak by powiedziała Franciszka — „gorzej psa”.

Wstąpiwszy na niedostępne wyżyny nazwiska „Guermantes” i schodząc wewnętrznym stokiem życia księżnej Oriany, zdumiewałem się, spotykając tam poufale gdzie indziej nazwiska Wiktora Hugo, Franza Halsa i, niestety, Viberta. Było to owo zdziwienie, jakiego doznaje podróżny, który biorąc miarę dla swoich pojęć o niezwykłości obyczajów w dzikiej dolinie Ameryki Centralnej lub Północnej Afryki z geograficznej odległości i dziwności nazw flory, naraz, przebywszy zasłonę olbrzymich aloesów lub mancenili<sup>813</sup>, odkrywa (czasem nawet opodal ruin rzymskiego teatru lub kolumny poświęconej Wenerze) mieszkańców, którzy czytają *Meropę* lub *Alzirę*<sup>814</sup>. I ta pokrewna kultura, przez którą pani de Guermantes, stojąca tak daleko, tak ustronnie i o tyle wyżej od znajomych mi wykształconych „pań z miasta”, siliła się, bez interesu, bez pobudek ambicji, zstąpić na poziom tych, których nie miała poznać nigdy, miała coś chwalebne, niemal wzruszającego przez swoją bezcelowość, coś niby erudycja w starożytnościach fenickich u męża stanu lub u lekarza.

— Mogłabym panu pokazać bardzo pięknego Halsa — rzekła uprzejmie pani de Guermantes — najpiękniejszego, jak twierdzą niektórzy. Odziedziczyłam go po kuzynie z Niemiec. Na nieszczęście, przywiązany jest prawem lenna do zamku; nie zna pan tego wyrażenia, ja także nie — dodała, wierna swemu stylowi żartowania (w czym uważała się za osobę nowoczesną) z dawnych zwyczajów, do których jednak była nieświadomie i niezłomie przywiązana. — Cieszę się, że pan widział moje Elstiry, ale byłabym jeszcze bardziej rada, gdybym mogła pana uczyć swoim Halsem, tym właśnie obrazem „lennym”.

— Znam go — rzekł Prinz Von — był u wielkiego księcia heskiego.

— Właśnie, jego brat ożenił się z moją siostrą — rzekł pan de Guermantes. — Zresztą matka jego była cioteczną siostrą matki Oriany.

— Ale co się tyczy Elstira — dodał Prinz Von — pozwolę sobie zauważyć (mimo że nie mam zdania o jego dziełach, których nie znam), że nienawiść, jaką go ściga cesarz, nie powinna świadczyć przeciw niemu. Cesarz to wspaniała inteligencja.

— Tak, jadłam z nim dwa razy obiad, raz u ciotki Sagan, drugi raz u ciotki Radziwiłłowej, i muszę powiedzieć, że mi się wydał ciekawy. Nie powiem, aby był łatwy! Ale ma coś zajmującego, coś „osiągniętego” — rzekła księżna, biorąc to słowo w cudzysłów — coś niby zielony goździk: to znaczy, rzecz, która mnie zdumiewa, a która nie bardzo mi się podoba; rzecz zadziwiająca tym, że ją ktoś mógł zrobić, ale co do której uważam, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby jej nie zrobił. Mam nadzieję, że pana nie gorszę.

— Cesarz jest fantastycznie inteligentny — odparł Prinz Von — kocha namiętnie sztukę, ma w rzeczach sztuki smak poniekąd niezawodny, nie myli się nigdy. Jeżeli jakaś rzecz jest piękna, pozna to natychmiast i nienawidzi jej. Jeżeli jakiejś rzeczy nie cierpi, nie można mieć żadnej wątpliwości, że jest wyborna.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Uspokoił mnie pan — rzekła księżna.

— Porównałbym chętnie cesarza — podjął niemiecki książę, który nie umiejąc wymówić poprawnie po francusku słowa „archeolog” (wymawiał „arszeolog”), nie tracił nigdy sposobności posłużenia się nim — do starego archeologa — (i książę powiedział:

<sup>811</sup>Mantegna, Andrea (ok. 1430–1506) — włoski malarz i rytownik, prekursor miedziorytu. [przypis edytorski]

<sup>812</sup>Lafenestre, Georges (1837–1919) — francuski poeta, krytyk sztuki i historyk sztuki; konserwator muzeum w Luwrze, członek Akademii Sztuk Pięknych Instytutu Francji. [przypis edytorski]

<sup>813</sup>mancenilia (łac. *Hippomane mancinella*) — tropikalne drzewo amerykańskie osiągające do 15 m wysokości; jedno z najbardziej trujących drzew na świecie. [przypis edytorski]

<sup>814</sup>Meropa oraz Alzira — tragedie Woltera; akcja pierwszej rozgrywa się w czasach mitycznych w Mesenii na Peloponezie, zaś drugiej toczy się w Peru w czasach konkwistadorów hiszpańskich. [przypis edytorski]

„arszeolog”) — którego mamy w Berlinie. Przed zabytkami asyryjskimi<sup>815</sup> stary arszeolog płacze. Ale jeżeli to jest fałszyfikat, jeżeli nie jest naprawdę starożytny: nie płacze. Zatem jeżeli się chce wiedzieć, czy jakiś arszeologiczny kawałek jest naprawdę stary, niesie się go do starego arszeologa. Jeżeli płacze, kupuje się tę rzecz do muzeum. Jeżeli oczy arszeologa pozostaną suche, odsyła się przedmiot kupcowi i skarży się o fałszerstwo. Otóż za każdym razem, kiedy jestem na obiedzie w Poczdamie, ilekroć cesarz mówi mi: „Trzeba, żebyś to, książę, zobaczył, to genialne”, notuję sobie w pamięci, żeby się wystrzegać obejrzenia tego; a kiedy słyszę, że piorunuje na jakąś wystawę, pędzę tam co prędzej.

— Czy Norpois nie jest za zbliżeniem anglo-francuskim? — rzekł pan de Guermantes.

— Na co by się wam to zdało? — spytał z niechętną wraz i chytrą miną Prinz Von, który nie mógł znieść Anglików. — Oni są tacy klupi. Ja wiem, że nie na wojskową pomoc liczyacie u nich. Ale można ich i tak osądzić z tępoty ich generałów. Jeden z moich przyjaciół rozmawiał świeżo z Bothą<sup>816</sup>, wie pan, wodzem Boerów<sup>817</sup>. Botha mówił: „To przerażające taka armia. Ja raczej dość lubię Anglików, ale niech pan pomyśli, że ja, prosty chłop, natłukłem ich we wszystkich bitwach. I w ostatniej, gdzie uległem liczbie nieprzyjaciół dwadzieścia razy wyższej od nas, poddając się z musu, jeszcze potrafiłem wziąć im dwa tysiące jeńców! A przecież ja dowodziłem tylko chłopami, ale gdyby kiedy ci idioci zmierzyl się z prawdziwą armią europejską, strach bierze, co by się z nimi stało!”. Zresztą wystarczy, że ich król, którego państwo znacie równie dobrze jak ja, uchodzi za wielkiego człowieka w Anglii.

Puszczając mimo uszu te opowiadki w stylu pana de Norpois; nie dostarczały one żadnego pokarmu moim ulubionym marzeniom! Gdyby zresztą i posiadały te składniki, musiałyby je mieć w szczególnie ożywym gatunku, aby obudzić moje wewnętrzne życie w czasie tych światowych godzin, przez które mieszkalem w swoim naskórku, w swoich starannie uczesanych włosach, w gorsiej koszuli, to znaczy, kiedy nie był zdolny odczuć nic z tego, co było dla mnie w życiu przyjemnością.

— Och, nie jestem pańskiego zdania — rzekła pani de Guermantes, która uważała, że niemiecki Prinz okazuje brak taktu — mnie się wydaje król Edward<sup>818</sup> uroczy, taki prosty, a o wiele sprytniejszy, niż się mniema. A królowa jest jeszcze teraz najpiękniejszym stworzeniem, jakie znam.

— Ależ, pani — rzekł Prinz Von, podrażniony, nie spostrzegając, że sam drażni innych — jednak gdyby książę Walii był sobie prywatnym człowiekiem, nie ma klubu, z którego by go nie wyrzucono, i nikt nie chciałby mu podawać ręki. Królowa jest czarująca, niezmiernie słodka i ograniczona. Ale ostatecznie jest coś rażącego w tej parze królewskiej, która jest dosłownie na utrzymaniu swoich poddanych, każe grubym żydowskim finansistom opłacać wszystkie wydatki, do jakich jest zobowiązana, i robi ich w zamian baronetami. To tak jak książę Bułgarii<sup>819</sup>...

— To nasz kuzyn — rzekła księżna — bardzo inteligentny człowiek...

— I mój kuzyn także — odparł Prinz Von — ale nie uważam przez to, aby to był poszątny człowiek. Nie, powinniście się zbliżyć do nas, to jest najgorętsze pragnienie cesarza, ale on chciałby, żeby to wyszło z serca. Powiada: „Chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. W ten sposób byłibyście niezwycczeni. To byłoby praktyczniejsze niż sojusz anglo-francuski, na który dzwoni pan de Norpois.

<sup>815</sup>asyryjski — odnoszący się do Asyryjczyków, semickiego ludu, który w XXI w. p.n.e. utworzył w północnej Mezopotamii (ob. pln. Irak) państwo (Asyrie), istniejące do 612 p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>816</sup>Botha, Louis (1872–1919) — południowoafrykański polityk i wojskowy, pierwszy premier utworzonego w 1910 Związku Południowej Afryki (ob. RPA). [przypis edytorski]

<sup>817</sup>Burawie a. Boerowie — biały naród afrykański, wywodzący się od holenderskich kolonistów w Afryce Południowej; na przełomie XIX i XX w. walczyli o niezależność z Brytyjczykami (tzw. wojny burskie), zostali pokonani, a z ich republik w 1910 utworzono dominium brytyjskie pod nazwą Związek Południowej Afryki. [przypis edytorski]

<sup>818</sup>Edward VII (1841–1910) — od 1901 król Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii i dominiów brytyjskich oraz cesarz Indii; syn królowej Wiktorii, od 1841 książę Walii; jego żoną była Aleksandra Duńska (1844–1925). [przypis edytorski]

<sup>819</sup>książę Bułgarii — Ferdynand I Koburg (1861–1948), książę Bułgarii (od 1887), w 1908 ogłosił niezależność Bułgarii od tureckiego Imperium Osmańskiego i przyjął tytuł cara; w 1918 zmuszony do abdykacji. [przypis edytorski]



— Pan zna pana de Norpois, wiem — rzekła do mnie pani de Guermantes, aby mnie nie zostawiać poza kręgiem rozmowy.

Przypomniałem sobie, że pan de Norpois opowiadał, iż robiłem wrażenie, że go chcę pocałować w rękę. Myśląc, że z pewnością opowiedział to pani de Guermantes, a w każdym razie musiał jej mówić o mnie w sposób złośliwy, skoro mimo przyjaźni z ojcem nie wahał się mnie ośmieszać, nie zrobiłem w tej chwili tego, co by zrobił człowiek światowy. Powiedziałby, że nie znosi pana de Norpois i że mu to dał uczuć; a powiedziałby to w tym celu, aby się zdawało, że jest dobrowolną przyczyną złośliwości ambasadora, które to złośliwości stałyby się tym samym jedynie kłamliwym i interesownym odwetem. Rzekłem, przeciwnie, iż, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, sądzę, że mnie pan de Norpois nie lubi.

— Zupełnie się pan myli — odparła pani de Guermantes. — Bardzo pana lubi. Może pan spytać Błażeja: o ile ja uchodzę za nazbyt uprzejmą, on nie grzeszy wcale tą wadą. Powie panu, że o nikim nie słyszeliśmy z ust pana de Norpois tyle miłego co o panu. A w ostatnich czasach chciał panu dać w ministerstwie świetne stanowisko. Ponieważ się dowiedział, że pan jest cierpiący i że nie mógłby pan przyjąć tego stanowiska, miał tę delikatność, aby o swojej dobrej intencji nie wspominać nawet pańskiemu ojcu, którego niezmiernie ceni.

Pan de Norpois był ostatnią osobą, od której bym się spodziewał przysługi. Faktem jest, że on był złośliwy, a nawet zjadliwy; ci, co dali się, jak ja — sądząc go z łatwych rozczuleń i zbyt harmonijnych dźwięków głosu — wziąć na jego pozory świętego Ludwika<sup>820</sup> wymierzającego sprawiedliwość pod dębem, pomawiali go o prawdziwą perfidię, kiedy się dowiadawali o jakimś złośliwym wybryku na ich temat, pochodzącym od człowieka, który zdawał się kłaść serce w słowa. Te złośliwości były u niego dość częste. Ale to nie przeszkadzało mu mieć swoje sympatie, chwalić tych, których lubił, i znajdować przyjemność w tym, aby im oddać przysługę.

— To mnie nie dziwi zresztą, że on pana ceni — rzekła pani de Guermantes — to człowiek inteligentny. I rozumiem doskonale — dodała dla innych, czyniąc aluzję do projektów małżeńskich, których nie znałem — że moja ciocia, która go już nie bardzo bawi jako stara kochanka, wydaje mu się tym bardziej zbyteczna jako młoda małżonka. Zwłaszcza, iż sądzę, że i kochanką przestała być od dawna, zamarynowała się w dewocji. Booz-Norpois<sup>821</sup> może powiedzieć, jak w wierszach Wiktora Hugo:

Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem,  
Zmieniła moje łóżko, o Panie, na Twoje!<sup>822</sup>

Doprawdy, moja biedna ciocia jest jak ci artyści z awangardy, którzy grzmieili całe życie przeciw Akademii, a u schyłku formują swoją własną akademię; lub renegaci, którzy fabrykują sobie prywatną religię. W takim razie lepiej było zatrzymać habit lub nie wchodzić w dzikie związki. Kto wie — dodała księżna z marzącym wyrazem oczu — może ona tego pragnie w przewidywaniu wdowieństwa. Nie ma nic smutniejszego niż żałoba, której nie wolno nosić.

— Ba, gdyby pani de Villeparisis została panią de Norpois, sądzę, że kuzyn Gilbert przechorowałby to — rzekł generał de Saint-Joseph.

— Książę Gilbert jest uroczy, ale w istocie jest bardzo przywiązany do spraw urodzenia i etykiety — rzekła księżna Parmy. — Spędziłam u niego dwa dni na wsi, w czasie gdy na nieszczęście Maria była chora. Była ze mną Małeńka (przydomek dawany pani d'Hunolstein dlatego, że była olbrzymia). Książę czekał na mnie przed gankiem, ofiarował mi ramię, udając, że nie widzi Małeńkiej. Zaszliśmy na pierwsze piętro aż pod drzwi salonu; wówczas, usuwając się, aby mnie przepuścić, rzekł: „A, dzień dobry, pa-

<sup>820</sup>Ludwik IX Święty (1214–1270) — król Francji; usprawnił administrację, system monetarny, zorganizował dwie wyprawy krzyżowe. [przypis edytorski]

<sup>821</sup>Booz a. Boaz (bibl.) — postać z biblijnej *Księgi Rut*: bogaty krewny wdowy Noemi, której towarzyszką w biedzie była jej synowa Rut, również owdowiała; na polecenie teściowej Rut próbowała nocą uwieść Boozą, który odrzucił jej zaloty, ale ostatecznie się z nią ożenił. [przypis edytorski]

<sup>822</sup>*Od dawna już kobieta, z którą sypiał społem...* — z poematu Wiktora Hugo *Booz endormi* (Śpiący Booz), z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków). [przypis edytorski]

ni d'Hunolstein" (zawsze ją tylko tak nazywa od czasu jej separacji), udając, że dopiero wówczas spostrzegł Malańką, aby okazać, że nie schodziłby dla jej przywitania na dół.

— To mnie wcale nie dziwi. Nie potrzebuję waszej wysokości mówić — rzekł pan de Guermantes, który się miał za człowieka nadzwyczaj nowoczesnego, bardziej niż ktokolwiek gardzącego urodzeniem, a nawet za republikanina — że niewiele mam wspólnych poglądów z moim kuzynem. Łatwo wasza wysokość zgodnie, że w przeważnej ilości rzeczy zgadzamy się jak dzień z nocą. Ale muszę powiedzieć, że gdyby ciotka zaślubiła starego Norpois, na ten raz byłbym zdania Gilberta. Być córką Florymonda de Guise i zrobić taką partię, to, jak powiadają, koń by się uśmieł; cóż jeszcze mam powiedzieć?

Ten ostatni zwrot, który książę wsuwał przeważnie w połowie zdania, był tutaj zupełnie niepotrzebny. Ale czuł ustawiczną potrzebę wtrącania go, co mu kazało przенosić go na koniec okresu<sup>823</sup>, o ile nie znalazł sobie miejsca gdzie indziej. Była to dla niego, między innymi rzeczami, kwestia rytmiki.

— Trzeba zresztą stwierdzić — dodał — że Norpois to wyborna szlachta, dobra krew, z dobrego gniazda.

— Słuchaj, Błażeju, nie warto sobie żartować z Gilberta po to, aby mówić jak on — rzekła pani de Guermantes, dla której „dobroć” urodzenia, zarówno jak dobroć wina, ściśle polegała, jak dla Gilberta i Błażeja de Guermantes, na jego dawności. Ale, mniej szczerą niż jej kuzyn, a sprytniejszą od męża, pilnowała się, aby w rozmowie nie zadać kłamu „duchowi Guermantów”; gardziła urodzeniem w słowach, poprzestając na uznawaniu go w uczynkach.

— Ale czy państwo nie jesteście trochę skuzynowani? — spytał generał de Saint-Joseph. — Zdaje mi się, że Norpois ożenił się z panną de La Rochefoucauld.

— Z tej strony ani trochę: ona była z gałęzi książąt de La Rochefoucauld, a moja babka jest z książąt Doudeauville. To rodzona babka Edzia Koko, najrozumniejszego człowieka w rodzinie — odparł książę, który miał co do rozumu poglądy nieco powierzchowne — a te dwie gałęzie nie zeszyły się od Ludwika XIV; to by było trochę dalekie.

— A, to ciekawe, nie wiedziałem o tym — rzekł generał.

— Zresztą — dodał pan de Guermantes — matka jego była, zdaje mi się, siostrą księcia de Montmorency i zaślubiła najpierw jakiegoś La Tour d'Auvergne. Że jednak ci Montmorency ledwie że są Montmorency, a ci La Tour d'Auvergne wcale nie są La Tour d'Auvergne, nie widzę, aby mu to mogło przydać wiele chwały. Powiada, i to by było ważniejsze, że on pochodzi od Saintrailles'a<sup>824</sup>, a że my się wiemy od niego w prostej linii...

Była w Combray ulica Saintrailles'a, o której nigdy już od owych czasów nie myślałem. Wiodła od ulicy de la Bretonnerie do ulicy Ptasiej. A że Saintrailles, ów towarzysz Joanny d'Arc, zaślubiając pannę de Guermantes, wniósł w tę rodzinę hrabstwo de Combray, herb jego widniał między herbami Guermantów pod witrażem w kościele Św. Hilarego. Ujrzałem stopnie z czarniawego kamienia, kiedy jakiś akcent przywrócił nazwisku „Guermantes” zapomnianą tonację, w jakiej słyszałem je niegdyś, tak różną od tej, w której oznaczało uprzejmych gospodarzy podejmujących mnie dziś obiadem. Jeżeli nazwisko księżnej de Guermantes było dla mnie nazwiskiem zbiorowym, proces ten spełnił się nie tylko w historii przez zsumowanie wszystkich kobiet, które je nosiły, ale także w ciągu mojej krótkiej młodości, widzącej kolejno w tej jednej księżnej de Guermantes tyle warstw różnych kobiet, z których każda zniknęła z chwilą, gdy następna zdołała się utrwalić. Słowa nie zmieniają tak znaczenia w ciągu wieków, jak zmieniają je dla nas nazwiska na przestrzeni kilku lat! Nasza pamięć i nasze serce nie są dość przestronne na to, aby mogły być wierne. Nie mamy w swojej obecnej myśli dosyć miejsca, aby zachować tam umarłych obok żywych. Trzeba nam budować na tym, co było przedtem, a co odnajdujemy jedynie wedle przypadku wykopalisk, w rodzaju tego, jakiego dokonało nazwisko Saintrailles.

Wydawało mi się bezcelowe wyjaśniać to wszystko i nawet trochę przedtem dopuściłem się biernego kłamstwa, nie odpowiadając panu de Guermantes, kiedy mnie spytał:

<sup>823</sup>okres — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

<sup>824</sup>Saintrailles, właśc. Xaintrailles, Jean Poton de (ok. 1390–1461) — szlachcic gaskoński, zasłużony uczestnik wojny stuletniej, towarzysz broni Joanny d'Arc; od 1454 marszałek Francji. [przypis edytorski]

„Czy pan nie zna naszych stron?”. Może nawet wiedział, że je znam, i jedynie przez dobre wychowanie nie nalegał.

Pani de Guermantes wyrwała mnie z mojego marzenia.

— Mnie się to wszystko wydaje mordercze. Wie pan, nie zawsze jest u mnie tak nudno jak dziś. Mam nadzieję, że pan niedługo znów przyjdzie na obiad dla kompensaty, tym razem już bez genealogii — rzekła półgłosem księżna, niezdolna zrozumieć uroku, jaki mogłem znajdować w jej domu, i niezdolna wznieść się do tej pokory, aby mnie czarować jedynie jako zielnik pełen niemodnych roślin.

To, czym pani de Guermantes bała się mnie rozczarować, to, przeciwnie, pod koniec — bo książę i generał nie przestawali rozprawiać o genealogiach — ratowało mój wieczór od kompletnego zawodu. Jakimż cudem nie doznałbym go dotąd! Każdy z gości przy obiedzie, wypełniając tajemnicze nazwisko, pod jakim go jedynie znałem i pod jakim marzyłem o nim na odległość, ciałem i inteligencją w najlepszym razie równymi ciału i inteligencji wszystkich znajomych mi osób, dał mi wrażenie tej samej płaskiej pospolitości, jaką wszelkiemu rozegzaltowanemu czytelnikowi *Hamleta* może dać wjazd do duńskiego portu Elsynor<sup>825</sup>. Bez wątpienia owe strefy geograficzne i owa dawność, wnoszące starodrzew i gotyckie wieżycy w ich nazwiska, ukształtowały poniekąd ich twarze, dusze i przesady, ale istniały w nich jedynie jak przyczyna w skutku, to znaczy możliwe poniekąd do odkrycia dla inteligencji, lecz zgoła nie działające na wyobraźnię.

I te dawne przesady wróciły nagle gościom państwa de Guermantes ich straconą pozycję. Z pewnością wiadomości posiadane przez ludzi szlacheckiego rodu i robiące z nich ludzi uczonych i biegłych w etymologii<sup>826</sup> nie słów, lecz nazwisk (i to jeszcze tylko w stosunku do przeciętnego ciemnego mieszczucha, bo o ile przy równej inteligencji dewot lepiej objaśni was w jakiejś kwestii liturgicznej od wolnomyśliciela, w zamian za to antyklerykalny archeolog zawstydzi swego proboszcza we wszystkim, co się tyczy nawet jego własnego kościoła), te wiadomości — jeżeli chcemy pozostać w sferze prawdy, to znaczy w duchu — nie miały dla wielkich panów nawet tego uroku, jaki miałyby dla plebejusza. Wiedzieli może lepiej ode mnie, że diuszesa de Guise jest księżną de Clèves<sup>827</sup>, d'Orléans, de Porcien itd., ale znali, nawet przed wszystkimi tymi nazwiskami, twarz pani de Guise, którą tym samym odbijało im to nazwisko. Ja zacząłem od wróżki, choćby miała niedługo zginąć; oni od kobiety.

W mieszczańskich rodzinach często rodzą się zazdrości, jeżeli młodsza siostra wyjdzie za mąż przed starszą. Podobnie świat arystokratyczny — zwłaszcza Courvoisierowie, ale także Guermantowie — sprowadzał swoją arystokratyczną wielkość do prostych przewag domowych, wskutek dziecinady, którą poznałem (był to dla mnie jedyny jej urok) z książek. Czyż nie mamy wrażenia, że Tallemant des Réaux<sup>828</sup> mówi o Guermantach zamiast o Rohanach, kiedy z widoczną satysfakcją opowiada, że pan de Guéménée wołał do brata: „Możesz wejść, tu nie jest Luwr”, i powiadał o kawalerze de Rohan<sup>829</sup> (dlatego że był naturalnym synem<sup>830</sup> księcia de Clermont): „Ten przynajmniej jest księciem!”.

Jedyną rzeczą sprawiającą mi przykrość w tej rozmowie był fakt, iż niedorzeczne historie dotyczące uroczego wielkiego księcia następcy tronu Luksemburga znajdowały wiarę w tym salonie, podobnie jak wśród przyjaciół Roberta. Stanowczo to była istna epidemia, mająca trwać może nie dłużej niż dwa lata, ale ogarniająca wszystkich. Powtarzano te same bajki i dodawano do nich inne. Zrozumiałem, że nawet sama księżna de Luxembourg, niby broniąc swego bratanka, dostarczała oręża przeciw niemu.

— Niesłusznie go pan broni — rzekł do mnie pan de Guermantes, podobnie jak przedtem Saint-Loup. — Ot, zostawmy nawet opinię naszych krewnych, która jest jed-

<sup>825</sup>*Elsynor* — nazwa zamku w Danii, w którym rozgrywa się akcja tragedii Szekspira *Hamlet*; od nazwy nadmorskiego miasta *Helsingør*, którego zamek faktycznie nazywa się Kronborg. [przypis edytorski]

<sup>826</sup>*etymologia* — pochodzenie danego wyrazu; nauka zajmująca się pochodzeniem wyrazów. [przypis edytorski]

<sup>827</sup>*księżna de Clèves* — Katarzyna de Clèves (1548–1633); wdowa po Antoine de Croy, księciu de Porcien, przez małżeństwo z Henrykiem I de Guise w 1570 była diuszesa de Guise do jego śmierci w 1588. [przypis edytorski]

<sup>828</sup>*Tallemant des Réaux, Gédéon* (1619–1692) — francuski pisarz; autor zbioru krótkich biografii pt. *Historiettes* (Historyjki, wyd. 1834–1835). [przypis edytorski]

<sup>829</sup>*kawaler de Rohan*, właśc. *Guy Auguste de Rohan-Chabot* (1683–1760) — francuski szlachcic, znany głównie z kłótni z młodym Wolterem, po której nasał na niego kilku wynajętych bandytów. [przypis edytorski]

<sup>830</sup>*naturalny syn* — syn urodzony poza małżeństwem; daw. przeciwieństwo syna legalnego. [przypis edytorski]

nomyślna; ale niech pan spyta o niego służby, która ostatecznie zna nas najlepiej. Pani de Luxembourg darowała swemu bratankowi małego Murzynka. Murzynek wrócił, płacząc: „Wielkie księżę mnie bić, ja nie łajdak, wielkie księżę złe”. To bajeczne. A ja mogę coś o tym wiedzieć, to jest kuzyn Oriany.

Nie sposób zresztą powiedzieć, ile razy w ciągu tego wieczora słyszałem słowa „kuzyn” i „kuzynka”. Z jednej strony, pan de Guermantes za każdym nazwiskiem, które padło, wykrzykiwał: „Ależ to kuzyn Oriany!”, z tą samą radością, z jaką człowiek zgubiony w lesie czyta na końcu dwóch rozbieżnych strzałek na tabliczce informacyjnej, wraz z bardzo nieznaczną cyfrą kilometrów: „Belvédère Casimir-Perier” i „Croix du Grand-Veneur” i upewnia się, że jest na dobrej drodze. Z drugiej strony, tych słów „kuzyn” i „kuzynka” używała w całkiem innym sensie (stanowiącym tutaj wyjątek) ambasadorowa turecka, która przyszła po obiedzie. Pożerana światową ambicją i obdarzona istotną zdolnością asymilacji, ambasadorowa uczyła się równie łatwo historii *Odwrotu dziesięciu tysięcy*<sup>831</sup>, jak perwersji seksualnej u ptaków. Niepodobna byłoby złapać ją na jakim błędzie co do najświeższych prac niemieckich, czy traktowały o ekonomii politycznej, o chorobach umysłowych, o rozmaitych formach samogwałtu, czy o filozofii Epikura<sup>832</sup>. Była to zresztą kobieta niebezpieczna, gdyby ktoś jej zaufał, bo żyjąc w ustawicznym błędzie, wskazywała ci, jako kobiety arcylekkie, nieskazitelne cnoty, ostrzegała cię przed jakimś jegomościem ożywionym najczystszyimi intencjami i opowiadała historie, które zdawały się zaczerpnięte z książki, nie dlatego że takie poważne, ale że tak nieprawdopodobne.

Ambasadorową mało przyjmowano w owej epoce. Bywała w ciągu kilku tygodni u kobiet zupełnie świetnych, jak księżna de Guermantes, ale na ogół trzymała się z konieczności, co się tyczy bardzo arystokratycznych rodzin, skromniejszych gałęzi, z którymi Guermantowie nie utrzymywali stosunków. Łudziła się, iż robi wrażenie kobiety na wskroś światowej, cytując wielkie nazwiska ludzi mało ustosunkowanych, z którymi żyła blisko. Toteż pan de Guermantes, myśląc, iż chodzi o osoby często bywające u niego na obiedzie, drżał radośnie, że się odnajduje między swymi, i wydawał okrzyki: „Ależ to kuzyn Oriany. Znam go jak swoją kieszeń. Mieszka przy ulicy Vaneau. Matka jego była z domu d’Uzes”. Ambasadorowa zmuszona była wyznać, że jej egzemplarz pochodzi z ostatnich gatunków. Starła się nawiązać swoich przyjaciół do przyjaciół pana de Guermantes, dopadając go z ukosa: „Tak, tak, wiem dobrze, o kim pan mówi. Nie, to nie ci, to ich kuzyni”. Ale to desperackie zdanie, rzucone przez biedną ambasadorową, zamierało szybko. Bo pan de Guermantes, zniechęcony, odpowiadał: „A, w takim razie, nie wiem, o kim pani myśli”. Ambasadorowa nie odpowiadała nic, bo o ile znała zawsze jedynie kuzynów tych, których trzeba było znać, często ci kuzyni nie byli nawet krewnymi. Po czym ze strony pana de Guermantes rozległy się nowe: „Ależ to kuzynka Oriany”, które to słowa zdawały się przedstawiać dla pana de Guermantes w każdym jego zdaniu ten sam pożytek co dla poetów łacińskich niektóre epitety, wygodne, bo dostarczały im daktyla lub spondeja<sup>833</sup> w heksametrze<sup>834</sup>.

Bądź co bądź, wybuch: „Ależ to kuzynka Oriany”, wydał mi się zupełnie naturalny w zastosowaniu do księżnej Gilbertowej, która była w istocie bardzo bliską krewną Oriany. Zdaje się, że ambasadorowa nie przepadała za księżną Marią. Szepnęła do mnie po cichu:

— To idiotka. Ależ nie, nie jest wcale taka ładna. Przesadzona reputacja. Zresztą — dodała z miną zarazem skupioną, niechętną i stanowczą — ona mi jest zasadniczo antypatyczna.

<sup>831</sup>*Odwrot dziesięciu tysięcy* (fr. *La retraite des Dix-Mille*) — francuska wersja tytułu dzieła *Wyprowa Cyrusa*, znanego także jako *Anabaza*, pamiętnika wojskowego Ksenofonta z Aten (ok. 430–ok. 355 p.n.e.), opisującego liczącą 1000 mil drogę powrotną do ojczyzny armii 10 tysięcy najemników greckich zwerbowanych przez księcia perskiego Cyrusa Młodszego przeciwko jego bratu, królowi Persji Artakserksesowi II. [przypis edytorski]

<sup>832</sup>*Epikur* (341–270 p.n.e.) — filozof grecki uznający szczęście za najwyższą wartość; podkreślał też, że niczego nie należy przyjmować na wiarę, pierwszeństwo przyznając obserwacji i logicznemu rozumowaniu na jej podstawie. [przypis edytorski]

<sup>833</sup>*daktyl i spondej* — stopy metryczne w poezji: *daktyl* składa się z trzech sylab: jednej długiej i dwóch krótkich, zaś *spondej* z dwóch sylab długich; w heksametrze zamiast daktyli mogły występować spondeje. [przypis edytorski]

<sup>834</sup>*heksametr* — miara antycznego wiersza bohaterskiego, składająca się z sześciu stóp daktylicznych; heksametrem napisano *Iliadę* i *Odyseję* Homera. [przypis edytorski]

Ale często kuzynostwo rozciągało się o wiele dalej, ile że pani de Guermantes czuła się w obowiązku mówić „ciociu” do osób, z którymi aby znaleźć wspólnego przodka, musiałaby sięgnąć co najmniej do czasu Ludwika XV<sup>835</sup>. Toż samo, za każdym razem kiedy niedole epoki sprawiły, że miliarderka zaślubiła jakiegoś księcia, którego praszczur ożenił się, jak praszczur pani de Guermantes, z córką ministra Louvois<sup>836</sup>, największym szczęściem Amerykanki za pierwszą wizytą w pałacu Guermantes, gdzie była zresztą dość lichy przyjęta i gruntownie obmówiona, było mówić „ciociu” do pani de Guermantes, która zezwalała na to z macierzyńskim uśmiechem. Ale było mi dość obojętne, czym było „urodzenie” dla pana de Guermantes i dla pana de Beuserfeuil; w rozmowach, jakie wiedli na ten temat, szukałem jedynie poetyckiej przyjemności. Nie doświadczając jej sami, dostarczali mi jej tak, jakby to robili rolnicy lub rybacy, mówiąc o uprawie roli lub o polowie, realnościach nazbyt zrosniętych z nimi, aby w nich mogli kosztować uroków, które ja osobiście podejmowałem się z nich wydobyć.

Czasem nazwisko przywodziło na myśl nie tyle rasę, ale jakiś szczególny fakt, datę. Słyszając, jak pan de Guermantes przypomina, że matka pana de Bréauté była z domu Choiseul, a babka Lucinge, miałem wrażenie, że pod banalną koszulą ze zwykłymi perłowymi spinkami widzę krwawiące się w dwóch kryształowych kulach te dostojne relikwie: serce pani de Praslin<sup>837</sup> i serce księcia de Berry<sup>838</sup>; inne były bardziej zmysłowe: długie i delikatne włosy pani Tallien<sup>839</sup> lub pani de Sabran<sup>840</sup>.

Czasem dostrzegałem nie tylko zwykłą relikwię. Bardziej oświecony od żony co do przodków, pan de Guermantes posiadał wspomnienia czyniące jego rozmowę czymś na kształt pięknej starej siedziby niezawierającej istotnych arcydzieł, ale pełnej autentycznych obrazów, miernych i majestatycznych, w całości mających wielki styl. Gdy książe d'Agrigente spytał, czemu książe X, mówiąc o księciu d'Aumale, powiedział „mój wuj”, pan de Guermantes odparł: „Dlatego że brat jego matki, książe wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa<sup>841</sup>”. Wówczas ujrzałem cały relikwiarz, podobny tym, jakie malowali Carpaccio<sup>842</sup> lub Memling<sup>843</sup>, od pierwszego kwadratu, gdzie księżniczka na godach weselnych swego brata, księcia Orleanu, zjawia się ubrana w codzienną suknię, okazując tym swoje niezadowolenie, że odtracono posłów wyprawionych, aby prosić dla niej o rękę księcia Syrakuz, aż do ostatniego kwadratu, gdzie rodzi chłopca, księcia wirtemberskiego (rodzonego wuja księcia, z którym jadłem obiad), w tym zamku Wyobraźni<sup>844</sup>, jednym z miejsc równie arystokratycznych jak niektóre rody. I one także trwają dłużej niż jedno pokolenie, wiążą się z niejedną historyczną osobistością. Tu zwłaszcza żyją obok siebie

<sup>835</sup>Ludwik XV (1710–1774) — król Francji (od 1715) z dynastii Burbonów, prawnik i następca Ludwika XIV; pod jego rządami podupadła gospodarka i finanse państwa. [przypis edytorski]

<sup>836</sup>Louvois, François Michel Le Tellier de (1641–1691) — francuski polityk, wybitny minister wojny Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>837</sup>Choiseul-Praslin, Franciszka de (1807–1847) — francuska księżna; została znaleziona zamordowana, o jej zabójstwo oskarżono jej męża Charles'a, który w oczekiwaniu na proces popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>838</sup>Karol Ferdynand d'Artois, książę de Berry (1778–1820) — najmłodszy syn króla Karola X i Marii Teresy Sabaudzkiej; zaatakowany i śmiertelnie raniony, kiedy opuszczał budynek paryskiej opery razem ze swoją żoną; jedną z jego córek była Charlotta Maria Augustyna (1808–1886), która poślubiła Ferdynanda, hrabiego (później księcia) Faucigny-Lucinge. [przypis edytorski]

<sup>839</sup>pani Tallien — Thérèse Tallien (1773–1835), francuska arystokratka, słynęła z urody i swobodnego trybu życia; wyszła za mąż w wieku 14 lat, po rozwodzie jej kochankiem, a potem drugim mężem został rewolucjonista Jean Tallien; po rozwodzie z Tallienem miała krótki flirt z Napoleonem, dwa kolejne romanse, ostatecznie wyszła za mąż za księcia de Chimay. [przypis edytorski]

<sup>840</sup>pani de Sabran — Delphine de Sabran (1770–1826), francuska arystokratka, pisarka, prowadziła salony literackie i artystyczne, wolnomyslicielka, znana z urody i inteligencji; podczas rewolucji uwięziona wraz z mężem, którego potem zgilotynowano; uwolniona po upadku Robespierre'a; miała kilku kochanków. [przypis edytorski]

<sup>841</sup>książe wirtemberski, zaślubił córkę Ludwika Filipa — Aleksander Fryderyk Wirtemberski (1804–1881), książę Wirtembergii, poślubił w 1837 Marię Orleańską (1813–1839), córkę króla Francji Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>842</sup>Carpaccio, Vittore (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>843</sup>Memling, Hans (ok. 1435–1494) — niderlandzki malarz pochodzenia niemieckiego, jeden z najważniejszych przedstawicieli wczesnego odrodzenia. [przypis edytorski]

<sup>844</sup>Zamek Wyobraźni (niem. *Schloss Fantaisie*) — niemiecki zamek we wsi Donndorf, w pobliżu miasta Bayreuth. [przypis edytorski]

wspomnienia margrabiny Bayreuth<sup>845</sup>, również nieco ekscentrycznej księżniczki (siostry księcia Orleanu), której podobno spodobała się nazwa zamku jej małżonka; dalej króla bawarskiego<sup>846</sup> i wreszcie księcia X, którego adres to była właśnie nazwa tej miejscowości: dopiero co prosił pana de Guermantes, aby tam do niego napisał, bo odziedziczył ten zamek i wynajmował go jedynie na czas cykli wagnerowskich innemu rozkosznemu oryginałowi, księciu de Polignac<sup>847</sup>. Kiedy pan de Guermantes, chcąc wytłumaczyć, w jaki sposób spokrewniony jest z panią d'Arpajon, musiał tak daleko, a tak po prostu wspinać się po łańcuchu, poprzez złączone dłonie trzech czy pięciu prababek, aż do Marii Ludwika<sup>848</sup> lub do Colberta<sup>849</sup>, to było znów to samo: wielkie wydarzenie historyczne ukazywało się przelotnie, jedynie zamaskowane, wynaturzone, ograniczone, w nazwie miejscowości, w imionach jakiejś kobiety, dobranych w ten sposób, ponieważ była wnuczką Ludwika Filipa i Marii Amelii<sup>850</sup>, widzianych już nie w charakterze króla i królowej Francji, ale tylko w tej mierze, w jakiej, jako dziadkowie, zostawili spadek. (Widzimy, z innych racji, w skorowidzu do dzieł Balzaca, gdzie najznamienitsze osobistości figurują jedynie wedle swego związku z *Komedią ludzką*, że Napoleon zajmuje o wiele mniej miejsca niż Rastignac i zajmuje je tylko dlatego, że rozmawiał z pannami de Cinq-Cygne<sup>851</sup>). Podobnie arystokracja, w swojej ciężkiej budowlu o nielicznych oknach skąpo przepuszczających światło, okazując ten sam brak polotu, ale tę samą masywną i ślepą potęgę co architektura romańska, zamyka całą historię, zamurowuje ją, zasępia.

Tak więc przestrzenie mojej pamięci pokrywały się stopniowo nazwiskami, które szeregując się, grupując się w wzajemnym stosunku, wchodząc ze sobą w coraz to liczniejsze związki, naśladowały owe skończone dzieła sztuki, gdzie żadne dotknięcie pędzla nie jest odosobnione, gdzie każda partia czerpie z innych swoją rację bytu, im znowuż narzucając swoją.

Kiedy nazwisko pana de Luxembourg wróciło na tapetę, ambasadorowa turecka opowiedziała, że kiedy dziadek jego żony (ten, co posiadał ów olbrzymi majątek zrobiony na mące i na makaronie) zaprosił pana de Luxembourg na śniadanie, ten odmówił, kreśląc na kopercie adres: „Pan de X, młynarz”, na co dziadek odpowiedział: „Bardzo żałuję, że kochany pan nie mógł przyjść, tym bardziej że byliśmy w małym kółku, sami swoi, i że znaleźliby się przy stole jedynie młynarz, jego syn i pan”. Ta historia wydała mi się wstrętą; nie tylko nie uwierzyłbym nigdy, aby mój drogi de Nassau, pisząc do dziadka swojej żony (po którym zresztą miał dziedziczyć), nazywał go „młynarzem”, ale także niezdarność tej powiastki biła od pierwszych słów, ile że słowo „młynarz” pomieszczono zbyt oczywiście na to, aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a<sup>852</sup>. Ale w Faubourg Saint-Germain głupota — kiedy się z nią połączy — jest taka, iż wszyscy uznali, że to jest cudownie trafione i że dziadek (którego natychmiast na ślepo okrzyknięto niepospolitym człowiekiem) okazał więcej dowcipu od przyżenionego wnuka.

Książę de Châtellerauld chciał skorzystać z tej historyjki, aby opowiedzieć inną, którą słyszałem w kawiarni: „Wszyscy się kładli”, ale od pierwszych słów, kiedy wspomniął o pretensji pana de Luxembourg, aby pan de Guermantes wstawał przed jego żoną, pani de Guermantes przerwała mu i rzekła:

— Nie, on jest bardzo śmieszny, ale jednak nie do tego stopnia.

<sup>845</sup> Bayreuth — miejscowość w Bawarii, gdzie znajduje się Teatr Operowy wybudowany w 1876 specjalnie na potrzeby związane z wykonaniem dzieł Wagnera; do dziś odbywa się w nim coroczny festiwal wagnerowski. [przypis edytorski]

<sup>846</sup> król bawarski — Ludwik II Bawarski (1845–1886), król Bawarii (od 1864) z dynastii Wittelsbachów, przyjaciel i mecenas kompozytora Ryszarda Wagnera, budowniczy wystawnych pałaców oraz fantastycznego zamku Neuschwanstein; w 1886 uznany za niepoczytalnego i ubezwłasnowolniony. [przypis edytorski]

<sup>847</sup> Polignac, Edmond de (1834–1901) — francuski książę, kompozytor; znajomy Prousta. [przypis edytorski]

<sup>848</sup> Maria Ludwika Austriaczka (1791–1847) — arcyksiężniczka austriacka, córka Franciszka II, ostatniego władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, druga żona Napoleona I. [przypis edytorski]

<sup>849</sup> Colbert, Jean Baptiste (1619–1683) — francuski polityk, minister finansów i premier na dworze Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>850</sup> Ludwik Filip i Maria Amelia — Ludwik Filip I (1773–1850), ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów, oraz jego żona, Maria Amelia Burbon (1782–1866), księżniczka Królestwa Obojga Sycylii. [przypis edytorski]

<sup>851</sup> Rastignac i Laurence de Cinq-Cygne — postacie z cyklu powieściowego Balzaca *Komedii Ludzka*. [przypis edytorski]

<sup>852</sup> aby sprawdzić tytuł bajki la Fontaine'a — Młynarz, jego syn i osioł. [przypis tłumacza]

Byłem święcie przekonany, że wszystkie historyjki odnoszące się do pana de Luxembourg są równie fałszywe i że ilekroć się znajdę w obecności jednego z ich uczestników lub świadków, usłyszę to samo zaprzeczenie. Pytałem jednak sam siebie, czy protest pani de Guermantes płynie z troski o prawdę, czy z pychy. Jeżeli to była pycha, ustąpiła miejsca złościwości, bo księżna dodała, śmiejąc się:

— Zresztą i mnie spotkała mała awania<sup>853</sup>, bo on mnie zaprosił na podwieczorek, chcąc mnie zapoznać z wielką księżną luksemburską: w ten sposób i z tak dobrym smakiem nazywa własną żonę, pisząc do ciotki. Wyraziłam mu swój żal i dodałam: „Co do »wielkiej księżnej luksemburskiej«, w cudzysłowie, powiedz jej, że jeżeli zechce przyjść do mnie, jestem w domu od godziny piątej co czwartek”. Spotkał mnie i drugi afronik. Kiedy byłam w Luksemburgu, zatelefonowałam do niego, prosząc, aby podszedł do telefonu. Jego wysokość szedł na śniadanie, kończył śniadanie, dwie godziny upłynęły bez rezultatu; wówczas użyłam innego środka: „Proszę poprosić hrabiego de Nassau do telefonu”. Dotknięty do żywego, przybiegł w tej chwili.

Wszyscy śmieli się z opowiadania księżnej i z innych analogicznych, to znaczy — jestem o tym przekonany — kłamliwych, bo nie spotkałem człowieka inteligentniejszego, lepszego, subtelniejszego, powiedzmy, wręcz bardziej uroczego niż ten Luxembourg Nassau. Dalszy ciąg okaże, że to ja miałem słuszność. Muszę uznać, że pośród tych wszystkich niegodziwości wymknęło się pani de Guermantes ładne powiedzenie.

— On nie zawsze był taki — rzekła. — Zanim stracił rozum, zanim się zrobił jak ów człowiek z bajki, który myśli, że został królem, nie był głupi, i nawet w pierwszym okresie po swoich zaręczynach mówił o tym w sposób dość sympatyczny, jak o nieoczekiwanym szczęściu. „To istna bajka, muszę odbyć wjazd do Luksemburga w karocy z feerii” — powiadał do swego wuja d’Ornessan, który mu odpowiedział, bo państwo wiecie, że Luksemburg to nie jest duże: „Karoca z feerii! Boję się, że nie zdołasz wjechać; radzę ci już lepiej wózek zaprzężony w kozy”. Nie tylko Nassau nie obraził się, ale pierwszy powtarzał ten żart i śmiał się z niego.

— Ornessan jest bardzo dowcipny i ma po kim być dowcipny; matka jego jest z domu Montjeu. Bardzo jest źle z biednym Ornessan.

To nazwisko miało tę zaletę, że przerwało niestrawne złościwości, które byłyby się ciągnęły w nieskończoność. Po czym pan de Guermantes wytłumaczył, że prababka pana d’Ornessan była siostrą Marii Kastylijskiej de Montjeu<sup>854</sup>, żony Tymoleona Lotaryńskiego, a tym samym ciotki Oriany. Tak iż rozmowa wróciła do genealogii, podczas gdy idiotka ambasadorowa turecka szeptała mi:

— Robi pan wrażenie, że pan jest bardzo dobrze notowany u księcia de Guermantes; niech się pan ma na baczności. — A kiedy jej prosiłem o wyjaśnienie: — Mam na myśli, pan mnie zrozumie w pół słowa, że to jest człowiek, któremu można by bezpiecznie powierzyć córkę, ale nie syna.

Otóż, przeciwnie, jeżeli był kiedy człowiek kochający namiętnie i wyłącznie kobiety, był nim książę de Guermantes. Ale błąd, przeciwieństwo prawdy, w które naiwnie wierzyła, były dla ambasadorowej jak gdyby elementem, poza którym nie mogła się poruszać.

— Jego brat, Mémé, który mi jest zresztą z innych przyczyn (nie kłaniał się jej) głęboko antypatyczny, bardzo martwi się narowami księcia. Toż samo ich ciotka Villeparisis. Ubóstwiam ją. Oto święta kobieta, prawdziwy typ dawnych wielkich dam! To nie tylko wcielona cnota, ale i fakt. Jeszcze mówi „panie” do ambasadora Norpois, którego widuje co dzień i który, nawiasem mówiąc, zostawił w Turcji wyborne wspomnienie.

Nawet nie odpowiedziałem ambasadorowej, aby dalej słuchać genealogii. Nie wszystkie były ważne. Zdarzyło się nawet w ciągu rozmowy, że jeden z nieoczekiwanych alianców, który mi objaśnił pan de Guermantes, był mezaliansem, ale nie bez wdzięku, kojarząc bowiem za monarchii lipcowej księcia de Guermantes i księcia de Fezensac z dwiema uroczymi córkami znakomitego żeglarza, dawał w ten sposób dwom księżnym nieoczekiwany smak egzotycznie mieszczańskie, louis-filipicznie indiańskiego wdzięku. Lub,

<sup>853</sup>awania (z fr. *avanie*) — afront, zniewaga, wyrządzona przykrość. [przypis edytorski]

<sup>854</sup>Castille Jeannin de Montjeu, Marie Louise Chrétienne de (1680–1736) — francuska arystokratka. [przypis edytorski]

za Ludwika XIV, jakiś Norpois zaślubił córkę księcia de Mortemart<sup>855</sup>, którego znamienity tytuł ujął w owej odległej epoce nazwisko „Norpois” (które mi się zdawało szare i które mogłem uważać za świeże) i wyczelował je, dając mu piękność medalu. Zresztą w takich wypadkach nie tylko mniej znane nazwisko zyskiwało na tym zbliżeniu; drugie, zbanalizowane własną świetnością, bardziej uderzało mnie pod tą nową i dyskretniejszą fizjonomią, tak jak wśród portretów olśniewającego kolorysty często najbardziej zaskakuje nas portret robiony na czarno. Nowa ruchliwość, jakiej nabywały wszystkie te nazwiska, zgrupowane obok innych, od których zdawały się tak dalekie, wypływała nie tylko z mojej ignorancji; te same *chassés-croisés*<sup>856</sup>, jakie robiły w moim pojęciu, wykonywały one nie mniej łatwo w epokach, gdy tytuł, zawsze przywiązany do posiadłości ziemskiej, szedł za nią z jednej rodziny do drugiej, tak iż w pięknej feudalnej budowlu, jaką jest tytuł księcia de Nemours lub księcia de Chevreuse, mogłem odkryć kolejno, osiadłych niby w gościnnym domu Bernarda l’Hermite, jakiegoś Guise’a, księcia sabaudzkiego, Orleana, Luynes’a. Czasem wielu z nich rościło sobie prawa do jednej skorupki: na przykład królewska rodzina Holandii oraz panowie de Mailly-Nesle do księstwa Oranii; baron de Charlus i królewska rodzina belgijska do księstwa Brabancji; tylu innych do tytułów książąt Neapolu, książąt Parmy, książąt Reggio. Czasem było odwrotnie; skorupka była od tak dawna opuszczona przez wymarłych właścicieli, że nigdy nie przyszłoby mi na myśl, iż jakaś nazwa zamku mogła — ostatecznie w epoce niezbyt odległej — być nazwiskiem rodziny. Toteż kiedy na jakies pytanie pana de Monserfeuil pan de Guermantes odpowiedział: „Nie, moja kuzynka była wściekła rojalistka, to była córka margrabiego de Féterne, który odegrał pewną rolę w szuanerii<sup>857</sup>”, wówczas, widząc, jak ta nazwa „Féterne”, która od czasu Balbec była dla mnie nazwą zamku, staje się (czego bym o niej nigdy nie pomyślał) nazwiskiem rodziny, doznałem tego samego zdumienia, co kiedy w feerii wieże i ganek ożywiają się i stają się osobami. W tym znaczeniu można powiedzieć, że historia, nawet po prostu genealogiczna, wraca życie starym kamieniom. Byli też zapewne w świecie paryskim ludzie, którzy odegrali w nim rolę równie znaczną jak książę de Guermantes lub książę de la Trémoille, równie wysoko urodzeni, a bardziej poszukiwani dla swojej elegancji lub dowcipu. Zapomniano dziś o nich, bo nie mieli potomków, tym samym nazwisko ich, którego się już nie słyszy, wydaje się nieznanne; co najwyżej nazwa rzeczy, pod którą nie spodziewamy się odkryć nazwy ludzi, przeżyła w jakimś zamku, w jakiejś odległej wsi. Maluczko, a podróżny, który kędyś w Burgundii zatrzyma się w małej wiosce Charlus, aby zwiedzić miejscowy kościół, jeżeli nie jest na tyle dokładny lub jeżeli zanadto się spieszy, aby badać nagrobki, nie będzie wiedział, że owo „Charlus” było nazwiskiem człowieka, który trzymał równy krok z największymi.

Refleksja ta przypomniła mi, że trzeba iść i że podczas gdy słuchałem wywodów genealogicznych pana de Guermantes, zbliżała się godzina spotkania z jego bratem. Kto wie, myślałem dalej, czy kiedyś samo Guermantes nie stanie się wyłącznie nazwą miejscowości, wyjąwszy dla archeologów, którzy zatrzymawszy się przypadkiem w Combray, będą mieli cierpliwość przed witrażem Gilberta Złego wysłuchać objaśnień następcy naszego Teodora lub odczytać przewodnik proboszcza. Ale dopóki wielkie nazwisko nie wygasło, utrzymuje ono w pełnym blasku tych, co je nosili; i z pewnością zainteresowanie moje świetnością tych rodów płynęło stąd, że wychodząc z dnia dzisiejszego, można iść za nimi, stopień po stopniu, gdzieś daleko poza wiek XIV i odnaleźć pamiątniki i korespondencje wszystkich przodków pana de Charlus, księcia d’Agrigente, księżnej Parmy w przeszłości, w której nieprzenikniona noc skryłaby początki jakiejś mieszczańskiej rodziny i gdzie, pod świetlną i retrospektywną projekcją danego nazwiska, rozpoznajemy początek i trwałość pewnych neuropatycznych cech, przywar i wybryków jakichś Guermantów. Patologicznie niemal podobni do dzisiejszych, z wieku na wiek budzą niespokojną ciekawość swoich

<sup>855</sup>Mortemart, Louis de Rochecouart de (1663–1688) — francuski książę, mąż Marie-Anne Colbert (1665–1750), córki Jean-Baptiste Colberta, ministra Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>856</sup>*chassé croisé* (fr.; lm *chassés croisés*) — figura w tańcu polegająca na zamianie pozycji, podczas której tancerze mijają się, przechodząc na przeciwne strony. [przypis edytorski]

<sup>857</sup>*szuaneria* a. *powstanie szuanów* (1794–1795) — rojalistyczne chłopskie powstanie w Bretanii i Mayenne w okresie rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]



korespondentów, bądź dawniejszych od księżnej Palatynatu<sup>858</sup> i pani de Motteville<sup>859</sup>, bądź późniejszych od księcia de Ligne<sup>860</sup>.

Zresztą moje zaciekawienie historyczne było mniejsze od rozkoszy estetycznej. Cytowane nazwiska miały ten skutek, że odcieleśniały gości księżnej, których maska ich ciała oraz nieinteligencji czy miernej inteligencji zmieniała w przeciętnych ludzi; tak iż w sumie słomianka przedpokoju księżnej stała się dla mnie nie — jak w to wierzyłem — progiem, ale kresem zaczarowanego świata nazwisk. Sam książę d’Agrigente, kiedyś usłyszał, że matka jego, z domu Damas, była wnuczką księcia Modeny, wyzbył się — niby przypadkowej chemicznej domieszki — twarzy i słów niepozwalających go rozpoznać i stworzył z Damas i Modeną, które były jedynie tytułami, nieskończenie powabniejszą kombinację. Każde nazwisko, przemieszczone przyciąganiem innego, z którym nie posądzałem go o żadne powinowactwo, opuszczało niezmiennie miejsce, które zajmowało w moim mózgu, gdzie poszarzyło je przyzwyczajenie, i kojarząc się z Mortemartami, Stuartami lub Burbonami, rysowało wraz z nimi pełne wdzięku gałązki o zmiennym kolorycie. Nawet nazwisku „Guermantes” wszystkie te piękne, wygasłe i tym żarliwiej rozpalane nazwiska, z którymi — jak się o tym dowiedziałem świeżo — było ono związane, dawały jakiś nowy, czysto poetycki sens. Co najwyżej na zakończeniu każdego pęczka dumnej lodygi mogłem oglądać, jak ona zakwita jakimś obliczem mądrego króla lub dostojnej księżniczki, jak ojciec Henryka IV<sup>861</sup> lub księżna de Longueville<sup>862</sup>. Ale ponieważ te twarze, różne w tym od twarzy gości, nie były dla mnie zamulone żadnym osadem materialnego poznania i światowej pospolitości, w swoim pięknym rysunku i zmiennych refleksach zachowały jedność z tymi nazwiskami, które, w regularnych odstępach, każde odmiennego koloru, odcinały się od drzewa genealogicznego Guermantów, żadną obcą i nieprzezroczystą materią nie ćmiąc przeświecających, zmiennych i wielobarwnych pączków, które, niby przodkowie Jezusa na starożytnych witrażach z rodowodem Jessego<sup>863</sup>, kwitły po obu stronach szklanego drzewa.

Kilka razy już chciałem się wymknąć, a pobudką moją, bardziej od wszelkiej innej racji, było upośledzenie, jakie moja obecność narzucała temu zebraniu. Tak długo roilem je jako coś tak pięknego, i byłoby z pewnością piękne, gdyby nie miało w mojej osobie krępującego świadka. Nieobecność moja, z chwilą usunięcia się profana, pozwoli uczestnikom ukonstytuować się wreszcie w sekretne ciało. Będą mogli święcić misteria, dla których się zebrali, bo z pewnością nie zeszli się po to, aby rozmawiać o Franzu Halsie i o skąpstwie, i to rozmawiać w ten sam sposób co ludzie nieurodzeni. Mówiono same błahostki, z pewnością dlatego że ja tam byłem; widząc poszczególne wszystkie te piękne kobiety, doświadczałem wyrzutów, że obecnością swoją przeszkadzam im w najwykwintniejszym z salonów wieść tajemnicze życie Faubourg Saint-Germain. Ale mimo że chciałem najszybciej zniknąć, księstwo de Guermantes dawali dowód prawdziwego poświęcenia, przedłużając moją obecność. A co jeszcze ciekawsze, niektóre damy, które przyszły skwapliwie, zachwycone, wystrojone, iskrzące się klejnotami, aby wziąć udział — z mojej winy — po prostu w fecie niewiele się różniącej od wieczorów dawanych poza Faubourg Saint-Germain — tak samo jak człowiek czuje się w Balbec jak w mieście niewiele różniącym się od tego, co nasze oczy przywykły oglądać — niektóre damy odeszły nie tak, jak by powinny odejść, z uczuciem zawodu, ale dziękując entuzjastycznie pani de Guermantes za rozkoszny wieczór, tak jakby w inne dni (w te, kiedy mnie nie było) nie działo się tam nic innego.

<sup>858</sup> *Elżbieta Charlotta z Palatynatu* (1652–1722) — niemiecka księżniczka Palatynatu Reńskiego, żona księcia Orleanu; opisywała zdarzenia i osoby z dworu Ludwika XIV w swoich listach do Niemiec. [przypis edytorski]

<sup>859</sup> *Motteville, Françoise de* (ok. 1620–1689) — francuska pamiętnikarka, pokojówka Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

<sup>860</sup> *Ligne, Charles-Joseph de* (1735–1814) — książę Świętego Cesarstwa Rzymskiego, dyplomata i wojskowy w służbie Austrii, pamiętnikarz. [przypis edytorski]

<sup>861</sup> *ojciec Henryka IV* — Antoine de Bourbon-Vendôme (1518–1562), król Nawarry (od 1555). [przypis edytorski]

<sup>862</sup> *księżna de Longueville* — Anna Genowefa de Bourbon (1619–1679), córka Henryka, księcia Condé, i jego żony, Charlotty Małgorzaty de Montmorency; znana z urody i wpływu na Fronde. [przypis edytorski]

<sup>863</sup> *drzewo Jessego* — artystyczne przedstawienie drzewa genealogicznego Jezusa z Nazaretu; Jesse był wg Biblii ojcem Dawida, króla Izraela; w *Księdze Izajasza* (Iz 11) mowa o wybitnym potomku Jessego, w czym chrześcijanie widzą prorocstwo dotyczące Chrystusa. [przypis edytorski]

Czy doprawdy na obiady takie jak dzisiejszy wszystkie te osoby stroiły się i nie wpuszczały „pań z miasta” do swoich tak zamkniętych salonów? Na obiady takie jak ten i takie same wówczas, gdy mnie nie było? Na chwilę powziąłem to podejrzenie, ale było ono zbyt niedorzeczne. Prosty rozsądek pozwalał je oddalić. A przy tym, gdybym je przyjął, cóż by zostało z nazwiska „Guermantes”, już tak zdegradowanego od czasów Combray?

Zresztą te żywe kwiaty były szczególnie łatwe do zadowolenia przez inną osobę lub pragnące jej zrobić przyjemność, bo niejedna z tych dam, do której się zaledwo przez cały wieczór odezwałem, i to tak głupio, że się rumienił na samą myśl o tym, postarała się przed opuszczeniem salonu oświadczyć mi, wlepiając we mnie swoje piękne pieścizliwie oczy i poprawiając girlandę storczyków okalającą jej piersi, jaką przyjemnością było dla niej poznanie mnie. Po czym natrącała — dyskretna aluzja do zaproszenia na obiad — o swym pragnieniu „zorganizowania czegoś”, skoro „uloży dzień” z panią de Guermantes.

Zaden z tych żywych kwiatów nie opuścił salonu przed księżną Parmy. Nie wolno wychodzić przed królewską wysokością. Obecność księżnej Parmy była jedną z dwóch, niepodjęzrywanych przeze mnie, przyczyn, dla których pani de Guermantes tak usilnie starała się mnie zatrzymać. Z chwilą gdy księżna Parmy wstała, było to jakby hasło swobody. Wszystkie damy, zgąwszy kolano przed jej wysokością, która podniosła każdą, otrzymały od niej wraz z pocałunkiem — jak gdyby wyblagane na kolanach błogosławieństwo — pozwolenie zakrzętnienia się za okryciem i karetą. Tak że przed bramą odbywał się jakby przegląd wywoływanych kolejno wielkich nazwisk z historii Francji. Księżna Parmy zabroniła pani de Guermantes odprowadzać ją na dół z obawy, aby się nie zaziębiła, a książę dodał:

— No, Oriano, skoro jej wysokość zezwała, przypomnij sobie, co ci powiedział doktor.

„Zdaje mi się, że księżna Parmy była *bardzo rada* z tego obiadu z panem”. Znałem tę formułę. Książę de Guermantes przebył cały salon, aby mi jej udzielić z uprzejmą i ważną miną, tak jakby wręczał dyplom lub podawał ciasteczka. I z przyjemności, którą zdawał się odczuwać w tej chwili, a która dawała chwilowo tak słodki wyraz jego twarzy, zrozumiałem, że rodzaj obowiązków, jaki to dlań przedstawiało, był z tych, z których się będzie wywiązywał aż po ostatni kres życia, jak z owych honorowych i łatwych funkcji, które zachowuje się nawet będąc ramolem.

W chwili gdy miał odejść, dama dworu księżnej Parmy wróciła do salonu, zapomniawszy zabrać wspaniałych, sprowadzonych z Guermantes goździków, które księżna ofiarowała jej wysokości. Dama dworu była dość czerwona, czuło się, że ją spotkała pucówka<sup>864</sup>, bo księżna Parmy, tak dobra dla wszystkich, nie mogła powstrzymać zniecierpliwienia wobec głupoty swojej suiwantki<sup>865</sup>. Toteż ta biegła szybko, unosząc goździki, ale aby zachować swobodną figlarną minkę, rzekła, przechodząc koło mnie: „Jej wysokość uważa, że ja się zapóźniłam; chciałyby już odejść i mieć równocześnie goździki. Trudno, ja nie jestem mały ptaszek, nie mogę być w kilku miejscach naraz”.

Niestety! Racja niedopuszczająca wstawania przed jej wysokością nie była jedyną. Nie mogłem wyjść natychmiast, bo była i inna racja: było nią to, że sławny zbytek nieznanego Courvoisierom, jakim Guermantowie — bogaci czy na wpół zrujnowani — umieli raczyć swoich przyjaciół, to nie był zbytek jedynie materialny, ale, jak tego często doświadczyłem z Robertem de Saint-Loup, także zbytek uroczych wyrazów, uprzejmych gestów, cała elegancja słowna, podsycana istotnym bogactwem wewnętrznym. Że jednak w próżniactwie światowym bogactwo to pozostaje bez użytku, wyladowywało się ono często, szukając ujścia w jakimś ulotnym i przez to tym lękliwszym wylewie, który u księżnej Oriany mógłby dać złudzenie serdeczności. Czula ją zresztą w chwili, gdy jej dawała upust, bo wówczas w towarzystwie przyjaciela lub przyjaciółki znajdowała rodzaj upojenia, zgoła niezmysłowego, podobnego temu, jakie w niektórych osobach wzniesła muzyka; zdarzało się jej odpiąć od stanika kwiat, medalion i dać je komuś, z kim pragnęłyby przeciągnąć wieczór, czując z melancholią, że takie przedłużenie doprowadziłoby jedynie do czczych rozmówek, w które nie przeszłoby nic z dreszczu przelotnego wzruszenia; rozmówek podobnych do pierwszych ciepłych dni wiosennych przez wrażenie zmęczenia i smutku, jakie zostawiają. I nie należało zbyt poważnie brać upajających

<sup>864</sup>pucówka (daw., pot.) — ostre napomnienie, nagana. [przypis edytorski]

<sup>865</sup>suiwantka (neol.) — z fr. *suivante*: dama do towarzystwa. [przypis edytorski]

ponad wszystko przyrzeczeń, wygłaszanych przez owe kobiety, które dlatego że z taką siłą odczuwają słodycz chwili, czynią z niej — z delikatnością i szlachetnością nieznaną normalnym istotom — arcydzieło wzruszające wdziękiem i dobrocią i nie mają już nic do oddania z siebie z nadejściem innej chwili. Serdeczność ich nie trwa dłużej niż egzaltacja, która ją dyktuje; subtelność, która kazała im wówczas odgadnąć, co byśmy chcieli usłyszeć, i powiedzieć nam to wszystko, pozwoli im równie dobrze w kilka dni później podchwycić nasze śmieszności i bawić nimi innego gościa, z którym właśnie będą kosztowały jednego z owych tak ulotnych „momentów muzycznych”.

W przedśionku zażądałem od lokaja moich *snow-boots*, wziętych dla ochrony od śniegu, którego spadło nieco płatków rychło zmienionych w błoto. Nie zdałem sobie sprawy, że to jest nieeleganckie; ale pod wpływem pogardliwego uśmiechu wszystkich uczulem zawstydzenie, które doszło szczytu, kiedy ujrzałem, że księżna Parmy nie wyszła i że mnie widzi, jak wkładam swoje amerykańskie kalosze. Księżna podeszła ku mnie:

— Och, co za wspaniała myśl! — wykrzyknęła. — Jakie to praktyczne: to się nazywa człowiek inteligentny! Wie pani, będziemy musiały kupić takie — rzekła do damy dworu, podczas gdy ironia lokajów zmieniała się w szacunek, goście zaś tłoczyli się dokoła mnie, aby się dowiedzieć, gdzie ja mogłem znaleźć te cuda.

— Dzięki temu nie potrzebuje się pan niczego obawiać, nawet gdyby znów spadł śnieg i gdyby pan szedł daleko, nie ma już pół roku! — rzekła do mnie księżna Parmy.

— Och, co do tego wasza królewska wysokość może być spokojna — przerwała dama dworu ze sprytną miną — nie będzie już śnieg padał.

— Co pani może wiedzieć? — spytała cierpko przezacna księżna Parmy, którą jedynie głupota jej damy dworu umiała wyprowadzić z równowagi.

— Mogę zaręczyć waszej królewskiej wysokości, że nie może śnieg padać, to jest fizyczne niepodobieństwo.

— Ależ czemu?

— Nie może już padać, bo zrobiono, co trzeba, aby temu zapobiec: posypano sól!

Naiwna dama nie spostrzegła gniewu księżnej i wesołości innych osób, bo zamiast zmilczeć, rzekła do mnie z miłym uśmiechem, nie biorąc w rachubę moich zaprzeczeń w przedmiocie admirała Jurien de la Gravière:

— Zresztą cóż to znaczy? Pan musi być zahartowany jak marynarz. Dobra krew nie zawodzi.

Odprawiawszy księżnę Parmy, pan de Guermantes rzekł do mnie, biorąc moje palto:

— Pomogę panu wdziać kożuch.

Nie uśmiechał się już nawet, używając tego słowa, bo właśnie najpospolitsze wyrażenia stały się, wskutek afektowanej prostoty Guermantów, arystokratyczne.

Egzaltacja kończąca się jedynie melancholią, ponieważ była sztuczna — oto co, mimo iż całkiem odmiennie niż pani de Guermantes, odczuwałem, znalazłszy się w dorożce, która mnie wiozła do pałacu pana de Charlus. Możemy wedle ochoty oddawać się jednej lub drugiej z tych sił: jedna wznosi się z nas samych, promieniuje z naszych głębokich wrażeń, druga nawiedza nas z zewnątrz. Pierwsza w naturalny sposób niesie z sobą radość, tę, którą wydziela życie twórców. Drugi prąd, ten, który próbuje wnieść w nas ruch ożywiający inne osoby, nie jest połączony z przyjemnością; ale możemy ją znaleźć przez odbicie, w ujęciu tak sztucznym, że szybko obraca się w nudę, w smutek; stąd martwa twarz tylu światowców i tyle u nich stanów neurastenicznych, wiodących niekiedy do samobójstwa. Otóż w pojeździe, który mnie wiozł do pana de Charlus, byłem pastwą tego drugiego rodzaju podniecenia, bardzo odmiennego od tego, które czerpiemy z osobistych wrażeń, jak to, które poznałem w innych pojazdach, raz w Combray w kabrioletcie doktora Percepied, skąd widziałem rysujące się w zachodzie słońca wieże Martinville, innego dnia w Balbec, w landzie<sup>866</sup> pani de Villeparisis, kiedy się starałem odcyfrować reminiscencję następczoną przez grupę drzew. Ale w tym trzecim pojeździe miałem przed oczyma ducha jedynie rozmówki z obiadu u pani de Guermantes, które mi się wydawały tak nudne, na przykład opowiadanie Prinza Von o cesarzu niemieckim, o generale Botha i o armii angielskiej! Wstawiłem je w wewnętrzny stereoskop, poprzez który z chwilą gdy nie jesteśmy już samymi sobą, gdy, obdarzeni duszą światową, pra-

<sup>866</sup>lando — rodzaj czteroosobowego powozu konnego z opuszczaną budą. [przypis edytorski]

gniemy czerpać życie jedynie z drugich, dajemy głębię wszystkiemu, co oni powiedzieli, co zrobili. Niby człowiek pijany, pełen tkliwości dla usługującego mu garsona, zachwycałem się swoim szczęściem — nieodczutym co prawda przeze mnie w danej chwili — żem jadł obiad z kimś, kto zna tak dobrze Wilhelma II i opowiada o nim anegdoty, dalibóg, bardzo dowcipne. Przypominając sobie, wraz z niemieckim akcentem Prinza, historię generała Botha, śmiałem się na cały głos, jakby ten śmiech, podobny pewnym oklaskom zwiększającym wewnętrzny podziw, potrzebny był temu opowiadaniu, aby wzmocnić jego komizm. Przez powiększające szkła nawet te opinie pani de Guermantes, które mi się wydały głupie (na przykład o Franzu Halsie oglądanym z tramwaju), nabierały życia, zdumiewającej głębi. I muszę powiedzieć, że to podniecenie — które zresztą opadło szybko — nie było całkiem niedorzeczne. Tak samo jak pewnego pięknego dnia możemy być szczęśliwi, że znamy osobę absolutnie dla nas dotąd bezwartościową, ponieważ osoba ta okaże się przyjaciółką młodej panienki, w której się kochamy i której ona może nas przedstawić, nabierając dla nas w ten sposób pożytku i uroku, których w naszych oczach zdawała się na zawsze pozbawiona, tak samo nie ma słów, zarówno jak stosunków, co do których można by być pewnym, że się nam nigdy na nic nie zdadzą. To, co pani de Guermantes mówiła o obrazach, które byłoby interesujące oglądać nawet z tramwaju, było mylne, ale zawierało część prawdy, która mi się stała cenna kiedyś.

Tak samo zacytowane przez nią wiersze Wiktora Hugo były, trzeba przyznać, z epoki wcześniejszej od tej, w której Hugo stał się więcej niż nowym człowiekiem, kiedy ukazał w pełni rozkwitu nieznanego jeszcze rodzaju literacki, obdarzony subtelniejszymi organami. W tych poezjach Wiktor Hugo jeszcze sam myśli, zamiast poprzestać — jak natura — na tym, aby dawać do myślenia. Wyrażał wówczas „myśli” w formie najbardziej bezpośredniej, niemal w tym sensie, w jakim brał to słowo książę de Guermantes, kiedy uważając za staromodne i zbyteczne, aby uczestnicy wielkich fet w Guermantes wpisywali w album zamkowy, obok swojego podpisu, refleksje filozoficzno-poetyckie, uprzedzał nowo przybyłych błagalnym tonem: „Kochany, tylko nazwisko, bez myśli!”. Otóż te właśnie „myśli” Wiktora Hugo (prawie równie nieobecne w *Legendzie wieków*<sup>867</sup> jak „arie” i „melodie” w drugim okresie Wagnera) lubiła pani de Guermantes w „pierwszym” Wiktorze Hugo. I nawet nie całkiem mylnie. Były wzruszające i już dokoła nich — mimo iż forma nie miała jeszcze głębi, jaką miała osiągnąć później — plusk harmonijnych słów i bogatych rymów czynił je czymś innogatunkowym od tych wierszy, jakie można znaleźć na przykład u Corneille’a i gdzie okresowy i powściągnięty romantyzm, tym bardziej może dla nas wzruszający, nie przeniknął jednak aż do fizycznych źródeł życia, nie przeobraził nieświadomego i podatnego uogólnieniom organizmu kryjącego myśl. Toteż źle zrobiłem, żem się zasklepił dotąd w ostatnich tomach Wiktora Hugo. Z owych pierwszych, zapewne, jedynie maleńka część zdobiła rozmowę pani de Guermantes. Ale właśnie cytując tak oderwany wiersz, dziesięciokrotnie się jego siłę atrakcji. Wiersze, które wniknęły w moją pamięć lub odżyły w niej w czasie tego obiadu, przyciągały znowuż magnetycznie utwory, w których przywykły się znajdować, i to z taką mocą, że moje naelektryzowane ręce nie mogły dłużej niż czterdzieści osiem godzin opierać się sile wiodącej mnie do domu, w którym znajdowały się *Orientales* i *Chants du crépuscule*. Przeklinałem młodego lokajczyka, że swojej wiosce uczynił dar z mego egzemplarza *Feuilles d'automne*, i posłałem go bezzwłocznie, aby mi kupił inny. Odczytałem te tomy od deski do deski i odzyskałem spokój dopiero wówczas, kiedy nagle ujrzałem, oczekujące mnie w świetle, w którym je skąpała pani de Guermantes, zacytowane przez nią wiersze. Dla wszystkich tych przyczyn rozmowy z księżną Orianą podobne były do owych wiadomości, jakie czerpiemy w bibliotece pałacowej, przestarzałej, niekompletnej, niezdolnej nasycić inteligencję, pozbawionej prawie wszystkiego, co lubimy, ale nastęrczającej czasem jakąś ciekawą informację, nawet cytat pięknej stronicy, której nie znaleźmy i którą radzi przypomnimy sobie później wraz z myślą, że jej poznanie zawdzięczamy wspaniałej pańskiej siedzibie. Wówczas dzięki temu, żeśmy znaleźli przedmowę Balzaca do *Pustelni parmeńskiej* lub niewydane listy Jouberta, gotowi jesteśmy przeceniać wartość życia, któreśmy tam pędzili i o którego jałowości zapominamy na skutek tej gratki jednego wieczora.

<sup>867</sup> *Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

Z tego punktu widzenia, o ile wielki świat nie mógł w pierwszej chwili odpowiedzieć temu, czego oczekiwała moja wyobraźnia, i miał tym samym uderzyć mnie zrazu nie tyle różnicą, ale raczej swoim podobieństwem ze wszystkimi innymi światami, mimo to objawił mi się on pomału jako coś bardzo odrębnego. Wielcy panowie to są prawie jedyni ludzie, od których człowiek się uczy tyle co od chłopów; rozmowa ich bogaci się wszystkim, co dotyczy ziemi, dawnych siedzib, dawnych zwyczajów — wszystkim tym, czego świat pieniądza głęboko jest nieświadom. Przyjawszy, że najumiarkowańszy w swych poglądach arystokrata dogonił wreszcie epokę, w której żyje, matka jego, wujowie, cioteczne babki łączą go, kiedy wspomina swoje dzieciństwo, z tym, czym mogło być życie prawie nieznanne dzisiaj. W śmiertelnym pokoju dzisiejszego nieboszczyka pani de Guermites zauważyłaby natychmiast wszystkie uchybienia zwyczajom, choćby ich nawet nie sformułowała. Raziło ją, gdy na pogrzebie widziała kobiety pomieszane z mężczyznami, gdy istnieje osobne nabożeństwo przeznaczone dla kobiet. Co się tyczy całunu, o którym Bloch myślałby, że użytek jego ograniczony jest do pogrzebów (z powodu „sznurów całunu”, o których mówi się w sprawozdaniach z pogrzebów), pan de Guermites przypomniałby sobie czas, gdy będąc jeszcze dzieckiem widział, jak trzymano sznury przy ślubie pana de Mailly-Nesle<sup>868</sup>. Podczas gdy Saint-Loup sprzedawał swoje szacowne „drzewo genealogiczne”: stare portrety Bouillonów, listy Ludwika XIII, aby kupić obrazy Carrière’a<sup>869</sup> i meble *modern style*<sup>870</sup>, państwo de Guermites (wiedzeni może uczuciem, w którym namiętna miłość sztuki grała mniejszą rolę i które mniej przynosiło im zaszczytu) zachowali swoje cudowne meble Boulle’a<sup>871</sup>, przedstawiające całość o ileż szacowniejszą dla artysty! Literat byłby również zachwycony ich rozmową, będącą dlań — bo zgłodniały nie potrzebuje drugiego zgłodniałego — żywym słownikiem wszystkich owych wyrażen, które z każdym dniem coraz bardziej idą w zapomnienie: krawatów *à la Saint-Joseph*, dzieci Marii itd., żyjących już tylko u tych, którzy chcą być miłymi i dobrowolnymi konserwatorami przeszłości. Przyjemność, jakiej doznaje pośród nich — bardziej niż w towarzystwie innych literatów — pisarz, przyjemność ta nie jest bez niebezpieczeństwa, bo ów pisarz gotów jest uwierzyć, iż rzeczy minione mają czar same przez się; gotów jest przenieść je jako takie do swego utworu, martwego wówczas od urodzenia, wydzielającego nudę, w której autor się pociesza, mówiąc: „To ładne, bo to jest prawdziwe, tak właśnie się mówi”.

Owe arystokratyczne rozmowy miały zresztą u pani de Guermites ten urok, że się toczyły w wybornej francuszczyźnie. Z tej racji uprawniały one wesołość księżnej wobec słów takich jak „ezoteryczny”, „kosmiczny”, „pytyjski”, „hiperboliczny”, jakich używał Saint-Loup — tak samo jak wobec jego mebli od Binga<sup>872</sup>.

Mimo to opowiastki, które słyszałem u pani de Guermites — bardzo różne od tego, co mogłem odczuć wobec krzaka głogów lub jedząc magdalenkę — były mi obce. Można by rzec, iż wszedłszy na chwilę we mnie i wzięwszy mnie w posiadanie jedynie fizyczne (ile że miały charakter socjalny, a nie indywidualny), pragnęły co rychlej wyjść ze mnie. Miotałem się w powozie jak pytonissa<sup>873</sup>. Czekałem nowego obiadu, gdzie bym sam mógł się stać rodzajem Prinza Von..., pani de Guermites i opowiedzieć te historie. Na razie wprawiały one w drżenie moje wargi, które szeptały je, i na próżno starałem się przytrzymać swoją myśl, zawrotnie unoszoną odśrodkową siłą. Toteż z gorączkową żądzą niedźwigania już dłużej tego ciężaru samotnie w powozie, gdzie zresztą zastępowałem brak partnera, mówiąc głośno sam do siebie, zadzwoniłem do bramy pana de Charlus. Długi monolog, w którym powtarzałem sobie wszystko, com miał mu opowiedzieć (nie myśląc już prawie o tym, co on mnie mógłby mieć do powiedzenia), wypełnił mi cały czas pobytu

<sup>868</sup>Mailly-Nesle, Ferry Paul Alexandre de, (1821–1872) — francuski arystokrata, książę Oranii; w 1851 poślubił Józefinę Odoard du Hazez. [przypis edytorski]

<sup>869</sup>Carrière, Eugène (1849–1906) — francuski malarz i grafik. [przypis edytorski]

<sup>870</sup>modern style (ang.) — dosł.: nowoczesny styl; secesja, art nouveau; nurt artystyczny z przełomu XIX i XX w., charakteryzujący się stosowaniem płynnych, falistych linii oraz bogatej ornamentyki, zwłaszcza roślinnej. [przypis edytorski]

<sup>871</sup>Boulle, Charles André (1642–1732) — francuski projektant i wytwórca mebli; mistrz intarsji, reprezentant stylu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>872</sup>Bing, Siegfried (1838–1905) — niemiecko-francuski marszand, kolekcjoner i mecenas sztuki. [przypis edytorski]

<sup>873</sup>pytonissa — w staroż. Grecji: Pytia, wieszczka Apolla w świątyni w Delfach, która siedząc na trójnogu w podziemnym pomieszczeniu, odurzona oparami, w transie udzielała niejasnych przepowiedni na przekazane jej pytania. [przypis edytorski]

w salonie, dokąd mnie lokaj wprowadził. Byłem zresztą zbyt wzruszony, aby cośkolwiek widzieć. Tak bardzo potrzebowałem, aby pan de Charlus wysłuchał opowiadań, które mi pilno było wydzielić z siebie, że odczułem gwałtowny zawód na myśl, że on może śpi i że będę musiał zawrócić do domu, samotnie trawiąc swoje pijaństwo słów.

Spostrzegłem w istocie, że czekam już dwadzieścia pięć minut, że może mnie zapomniano w tym salonie, o którym mimo tak długiego czekania mógłbym co najwyżej powiedzieć, że był olbrzymi, zielonkawy i że były tam jakieś portrety. Potrzeba mówienia przeszkadza nie tylko słyszeć, ale widzieć; w tym wypadku wszelki brak zewnętrznego opisu jest już opisem stanu wewnętrznego. Miałem wyjść z salonu, aby zawołać kogoś, a jeśli nikogo nie znajdę, odszukać drogę do przedpokoju i kazać sobie otworzyć, kiedy, właśnie w chwili kiedy wstałem i postąpiłem kilka kroków na mozaikowej posadzce, wszedł kamerdyner i z zakłopotaną miną oświadczył:

— Pan baron miał ważne sprawy, zajęty był aż do tej pory. Jeszcze kilka osób czeka na niego. Zrobię, co w mojej mocy, aby pan baron przyjął pana, kazałem już dwa razy telefonować do sekretarza.

— Nie, niech się pan nie trudzi; umówiłem się z panem baronem, ale już jest późno i skoro jest dziś zajęty, przyjdę innego dnia.

— Och, nie, niech pan nie odchodzi — wykrzyknął kamerdyner. — Pan baron mógłby się gniewać. Jeszcze raz spróbuję.

Przypomniałem sobie, com słyszał o służących pana de Charlus i o ich przywiązaniu do pana. Nie można było całkowicie powiedzieć o nim tego, co o księciu de Conti<sup>874</sup>, że stara się podobać tak samo lokajowi jak ministrowi, ale pan de Charlus tak dalece umiał zrobić ze swego najdrobniejszego żądania rodzaj łaski, że wieczorem, kiedy przebiegłszy wzrokiem lokajów zebranych dokoła niego w pełnej szacunku odległości, powiedział: „Coignet, lichtarz!”, albo: „Ducret, koszula!”, inni oddalali się, mruczając z zawiści, zazdrośni o tego, którego spotkało to wyróżnienie. Dwaj nawet, którzy się nie cierpieli, próbowali nawzajem wydrzeć sobie łaski pana, nasuwając mu się pod najgłupszym pretekstem z usługą, w nadziei, że im przypadnie tego wieczora lichtarz lub koszula. Jeżeli się zwrócił do którego z nich wprost z rzeczą nienależącą do jego obowiązków, co więcej, jeżeli w ogrodzie w zimie, wiedząc, że któryś z jego stangretów jest zakatarzony, powiedział mu po upływie dziesięciu minut: „Nakryj głowę”, inni nie odzywali się do tego szczęśliwca przez dwa tygodnie, zazdroszcząc łaski, jaka go spotkała.

Czekałem jeszcze dziesięć minut, po czym, poprosiwszy mnie, żebym nie siedział zbyt długo, ponieważ pan baron jest zmęczony i musiał odprawić kilka bardzo ważnych osób zamówionych od dawna, wprowadzono mnie do niego. Ten ceremoniał dokoła pana de Charlus mniej robił na mnie wrażenie wielkości niż prostota jego brata Guermantes; ale już drzwi się otwały, ujrzałem barona w chińskim szlafroku, z gołą szyją, wyciągniętego na kanapie. W tej samej chwili uderzył mnie widok błyszczącego cylindra spoczywającego na krześle wraz z futrem, tak jakby baron dopiero co wrócił do domu.

Lokaj wyszedł. Sądziłem, że pan de Charlus podejdzie do mnie. Bez żadnego ruchu wlepił we mnie nieubłagane oczy. Zbliżyłem się, pozdrowiłem go; nie podał mi ręki, nie odpowiedział ani słowa, nie poprosił, abym usiadł. Po chwili spytałem go, tak jakbym się spytał źle wychowanego lekarza, czy muszę koniecznie stać. Zrobiłem to bez złej intencji, ale wyraz zimnego gniewu na twarzy pana de Charlus stał się jeszcze groźniejszy. Nie wiedziałem zresztą, że u siebie na wsi, w zamku w Charlus, baron, który lubił się bawić w króla, miał zwyczaj po obiedzie rozkładać się na fotelu w palarni, pozwalając gościom stać dokoła siebie. Prosił jednego o ogień, drugiemu ofiarowywał cygaro, po czym po upływie kilku chwil mówił: „Ależ, Argencourt, siadaj, proszę, weź sobie krzesło, mój drogi” itd., umyślnie przedłużając ich stanie, jedynie aby pokazać, że to on im pozwala usiąść.

— Siadaj pan na krześle Louis XIV — odparł z rozkazującą miną, raczej aby mnie oddalić od siebie niż aby mi ofiarować krzesło.

Siadłem na fotelu opodal.

<sup>874</sup>*Bourbon-Conti, Franciszek Ludwik de* (1664–1709) — francuski arystokrata, książę Conti (od 1685); w 1697 oficjalnie wybrany królem Polski przez większość sejmową, zmuszony do wycofania się wobec wcześniejszego wkroczenia z armią do Rzeczypospolitej Augusta II Mocnego, kontrkandydata popieranego przez Rosję. [przypis edytorski]

— A, to pan nazywa krzesłem Louis XIV! Widzę, że pan jest wykształcony — wykrzyknął drwiąco.

Byłem tak zdumiony, że nie ruszyłem się, ani by odejść (tak jak by należało), ani aby się przesiąść, jak chciał baron.

— Mój panie — rzekł, wążąc każde wyrażenie i w najbardziej impertynenckich słowach dublując spółgłoski — rozmowa, której zgodziłem się panu udzielić na prośbę osoby nieżyczącej sobie, abym ją wymieniał, będzie końcowym punktem naszych stosunków. Nie będę panu ukrywał, że się spodziewałem czegoś lepszego; spaczyłbym może nawet znaczenie słów — czego, przez prosty szacunek dla samego siebie, nie powinno się czynić nawet z kimś, kto nie zna ich wartości — mówiąc panu, że miał dla niego sympatię. Sądzę jednak, że „życzliwość”, w swoim sensie najoczywściej protekcyjnym, nie przekraczałaby ani tego, com odczuwał, ani tego, co zamierzałem ujawnić. Zawiadomiłem pana tuż po swoim powrocie do Paryża, dałem panu znać jeszcze do Balbec, że pan może liczyć na mnie...

Przypominając sobie scenę, po której pan de Charlus rozstał się ze mną w Balbec, zaprzeczyłem gestem.

— Jak to! — wykrzyknął z gniewem, i w istocie twarz barona, skurczona i blada, tak bardzo się różniła od jego zwyczajnej twarzy, jak morze, na którym w burzliwy poranek zamiast zwykłej promiennej powierzchni ujrzymy tysiąc wężów spienionej śliny. — Pan twierdzisz, żeś nie otrzymał mego zlecenia, oświadczyń niemal, że pan ma o mnie pamiętać? Co zdobyło książkę, którą panu przesłałem?

— Bardzo ładny ornamentek — odparłem.

— A — odparł baron ze wzgardliwą miną — młodzi Francuzi nietęgo znają arcydzieła swojego kraju. Co by się powiedziało o młodym berlińczyku, który by nie znał *Walkirii*! Trzeba zresztą przypuszczać, że pan jesteś ślepy, skoroś mi mówił, żeś spędził dwie godziny przed tym arcydziełem. Widzę, że pan się tak samo nie znasz na kwiatach jak na stylach; niech pan nie protestuje co do stylów — krzyknął baron tonem najwyższej wściekłości — pan nie wiesz nawet, na czym siedzisz! Częstujesz swój zadek kozetką *directoire*<sup>875</sup> jako berżerką Louis XIV! Któregoś dnia weźmiesz pan kolana pani de Villeparisis za sedes i licho wie, co na nie urządzisz. Podobnie nie poznałeś nawet w oprawie książki Bergotte’a ornamentu niezapominajek z kościoła w Balbec. Czy był jaśniejszy sposób powiedzenia panu: „Nie zapomnij o mnie!”?

Patrzyłem na pana de Charlus. Niewątpliwie jego wspaniała i odpychająca głowa biła głowy wszystkich jego bliskich; można by rzec — postarzały Apollo<sup>876</sup>; ale zdawało się, że oliwkowa wątrobiana ciecz tryśnie z jego złych ust. Co się tyczy inteligencji, niepodobna zaprzeczyć, że dzięki szerokiemu kąтови widzenia ogarniała ona wiele rzeczy, które miały pozostać na zawsze nieznanie księciu de Guermantes. Ale jakimi bądź pięknymi słowy baron barwił swoje nienawiści, czuło się, że nawet jeżeli w nich grała to obrażona duma, to zawiedziona miłość, uraza, sadyzm, przekora, *idée fixe*<sup>877</sup>, człowiek ten jest zdolny zamordować kogoś i dowodzić potem całą siłą logiki, wymowy, że miał rację to uczynić i że mimo to przerasta o sto głów swego brata, bratową itd., itd.

— Jak we *Włócznikach* Velasqueza<sup>878</sup> — ciągnął — zwycięzca posuwa się ku temu, który jest najpokorniejszy (tak jak przystało wszelkiej szlachetnej istocie), tak ja, czując się wszystkim, gdy pan jesteś niczym, zrobiłem pierwszy krok ku panu. Odpowiedziałeś pan głupio na to, co nie mnie przystoi nazwać wielkością. Ale ja się nie dałem zniechęcić. Nasza religia głosi cierpliwość. Cierpliwość, jaką okazałem wobec pana, będzie mi policzona, mam nadzieję; i ów fakt, że się tylko uśmiechnął z tego, co można było poczytać za impertynencję — o ile można mówić o impertynencji ze strony pana wobec kogoś, kto pana przerasta o tyle stóp. Ale dziś, młody panie, nie ma już mowy o tym

<sup>875</sup>*directoire* (fr.) — dyktoriał; tu: styl z francuskiego okresu Dyktoriałtu, od obalenia jakobinów na czele z Robespierre’em do zamachu stanu Napoleona (1794–1799). [przypis edytorski]

<sup>876</sup>*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz, klasyczny ideał męskiego piękna. [przypis edytorski]

<sup>877</sup>*idée fixe* (fr.) — powracająca, natrętna myśl; obsesja. [przypis edytorski]

<sup>878</sup>*Velasquez, Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Poddanie Bredy* z 1635, przedstawiający poddanie wojskom hiszpańskim niderlandzkiego miasta Breda, znany jest także pod hiszp. tytułem *Las Lanzas* (Piki): nad przedstawionym w prawej części oddziałem hiszpańskim gęsto wznoszą się piki (długa broń drzewcowa piechoty). [przypis edytorski]

wszystkim. Poddałem pana próbie, którą jedyny wybitny człowiek naszego świata bardzo inteligentnie nazywa „próbą nadmiaru uprzejmości”, słusznie określając ją jako najstraszliwszą ze wszystkich, jedyną zdolną oddzielić ziarno od kłokolu. Nie wyrzucalbym nawet panu, żeś ją przeszedł bez powodzenia, bo rzadcy są ci, co z niej wychodzą zwycięsko. Ale przynajmniej — i to jest konkluzja ostatnich słów, jakie zamienimy na ziemi — chcę być zabezpieczony od pańskich potwarczych urojeń.

Nie przyszło mi dotąd na myśl, że przyczyną gniewu pana de Charlus mogło być jakieś ujemne wyrażenie, które mu powtórzono; sięgałem do swojej pamięci: nie mówiłem o nim z nikim. Jakiś złośliwy język musiał coś zmyślić całkowicie. Zaręczyłem panu de Charlus, że nie mówiłem o nim absolutnie nic.

— Nie sądzę — dodałem — abym mógł pana pogniewać tym, że powiedziałem pani de Guermentes, iż jesteście w przyjaźni.

Uśmiechnął się ze wzgardą, podniósł głos do najwyższych rejestrów i, tu biorąc łagodnie najostrzejszą i najbardziej arogancką nutę, rzekł, wracając nadzwyczaj powoli do naturalnej intonacji, jakby oczarowany po drodze niezwykłością tej zstępującej gamy:

— Och, drogi panie, sądzę, że pan sam sobie czynisz krzywdę, obwiniając się, żeś powiedział, iż jesteście „w przyjaźni”. Nie spodziewałem się wielkiej ścisłości słownictwa od kogoś, kto wzięłby łatwo mebel Chippendale<sup>879</sup> za rokokową<sup>880</sup> ambonę, ale ostatecznie, nie sądzę — dodał z coraz to bardziej drwiącą pieszczotą głosu, zakwitającą na jego ustach czarującym uśmiechem — nie sądzę, abys pan powiedział i wierzył, że jesteście w przyjaźni! Co do tego, żeś się pan pochwalił, iż byłeś mi *przedstawiony*, żeś *rozmawiał ze mną*, że *mnie znasz* trochę, żeś uzyskał niemal bez natręctwa nadzieję stania się kiedyś moim *protegowanym*, to uważam, przeciwnie, z pańskiej strony za bardzo naturalne i inteligentne. Znaczna różnica wieku między nami pozwala mi uznać bez ironii, że ta *prezentacja*, te *rozmowy*, ta mglista przynęta *stosunków* były dla pana, nie moją rzeczą jest powiedzieć, *zaszczytem*, ale ostatecznie co najmniej korzyścią. Uważam, że głupstwo pańskie leży nie w tym, żeś to rozgłosił, ale żeś tego nie umiał zachować. Dodam nawet — rzekł nagle, przechodząc na chwilę z wyniosłego gniewu do słodczy tak nasyczonej smutkiem, iż myślałem, że zacznie płakać — że kiedyś pan zostawił bez odpowiedzi propozycję, jaką panu uczyniłem w Paryżu, wydało mi się to czymś tak niesłychanym ze strony pana, tak dobrze zdawałoby się, wychowanego, z dobrej *mieszkańskiej* rodziny — jedynie przy tym przymiotniku głos jego zadrgał świstem impertynencji — że byłem gotów naiwnie uwierzyć we wszystkie bajeczki, które nie zdarzają się nigdy, w zgubione listy, w omyłki w adresie. Uznaję, że to była z mojej strony wielka naiwność, ale święty Bonawentura<sup>881</sup> wołał raczej uwierzyć w to, że wół może latać, niż w to, że jego brat mógł skłamać. Ostatecznie, wszystko to jest skończone, propozycja nie nadała się panu, nie ma już o tym mowy. Zdaje się jedynie, że pan mógłbyś — tu doprawdy zadrgały łzy w głosie barona — napisać do mnie, bodaj przez szacunek dla mego wieku. Miałem dla pana na myśli rzeczy nieskończenie pojętne, których panu bynajmniej nie wyjawilem. Woląłem pan odmówić na nieznanie: to pańska rzecz. Ale, powtarzam panu, zawsze można *napisać*. Ja na pańskim miejscu, a nawet na swoim, byłbym to zrobił. Wolę nawet z *tego powodu* swoje miejsce niż pańskie; mówię: z tego powodu, ponieważ sądzę, że wszystkie miejsca są równe, i więcej mam sympatii dla inteligentnego robotnika niż dla niejednego księcia. Ale mogę powiedzieć, że wolę swoje miejsce, bo wiem, że w całym swoim życiu, które zaczyna być dosyć długie, nigdy nie zrobiłem tego, coś pan zrobił. — Głowa pana de Charlus odwróciła się w cieniu; nie wiem, czy z oczu jego spłynęły łzy, jak można by przypuszczać z głosu. — Mówiłem, żeś zrobił sto kroków ku panu; to miało ten skutek, żeś pan zrobił dwieście kroków wstecz. Teraz na mnie kolej oddalić się: i koniec znajomości! Nie zapamiętam pańskiego nazwiska, ale zapamiętam postępowanie, aby w dniach, kiedy byłbym skłonny przypuszczać, że ludzie mają serce, delikatność lub że mają bodaj

<sup>879</sup> *Chippendale, Thomas* (1718–1779) — brytyjski projektant mebli; jego nazwisko stało się nazwą angielskiego stylu meblarstwa, zapoczątkowanego przez wydaną przez niego pierwszą w historii książkę o projektowaniu mebli. [przypis edytorski]

<sup>880</sup> *rokoko* — dekoracyjny styl w sztuce europejskiej w XVIII w., najsilniej rozwinął się we Francji, za panowania Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>881</sup> *Bonawentura z Bagnoregio*, właśc. *Giovanni Fidanza* (ok. 1217–1274) — włoski franciszkanin, teolog, filozof scholastyk; święty katolicki. [przypis edytorski]



na tyle inteligencji, aby nie wypuszczać szansy niełatwo powtarzającej się w życiu, aby sobie przypomnieć, że kto tak mniema, ten szacuje ludzi zbyt wysoko. Nie, to, żeś pan powiedział, że mnie znasz, kiedy to była prawda (bo teraz przestanie być prawdą), mogę uznać jedynie za naturalne; uważam to za hołd, to znaczy za rzecz miłą. Na nieszczęście, gdzie indziej i w innych okolicznościach mówiłeś pan rzeczy zupełnie inne.

— Proszę pana, ja przysięgam, że nie powiedział nic, co by pana mogło obrazić.

— A kto mu powiada, że ja jestem obrażony? — wykrzyknął baron, wściekły, przystając się gwałtownie na szeszlangu, na którym spoczywał dotąd nieruchomo, podczas gdy blade, spienione wężę jego twarzy kurczyły się, a głos stawał się na przemian ostrzy lub poważny, niby ogłuszająca i rozpetana burza. (Donośny głos, jakim mówił zazwyczaj, sprawiający, że się ludzie na ulicy oglądali, zstokrotnił się na kształt *forte*<sup>882</sup>, gdy zamiast na fortepianie weźmie się je w orkiestrze, i co więcej, zmieni w *fortissimo*<sup>883</sup>. Pan de Charlus ryczał). Czy pan myśli, że jest w pańskiej mocy obrazić mnie? Nie wie pan, do kogo pan mówi? Czy pan myśli, że zatruta ślina pięciuset pańskich lilipucich przyjaciół, gdyby nawet stanęli jedni na drugich, zdołałyby osiągać bodaj moich dostojnych stóp?

Od pewnej chwili chęć przekonania pana de Charlus, że nigdy nie mówiłem ani nie słyszałem o nim nic złego, ustąpiła szalonej wściekłości, wywołanej jego słowami, które, moim zdaniem, dyktowała jedynie potworna pycha. Były może skutkiem, częściowo bodaj, owej pychy. Prawie wszystko inne płynęło z uczucia, którego jeszcze nie znałem; nie było zatem moją winą, że go nie wziął w rachubę. Mógłbym co najwyżej, w braku tego nieznanego uczucia — gdybym pamiętał słowa pani de Guermantes — dumę barona zaprawić domieszką szaleństwa. Ale w tej chwili szaleństwo nie przyszło mi nawet na myśl. Wedle mnie, była w panu de Charlus sama pycha, we mnie sama wściekłość. W chwili gdy pan de Charlus przestał na chwilę ryczeć, aby mówić o swoich „dostojnych stopach”, z majestatyczną miną, niemal wymiotując wzgardą na pokątnych oszczerców, wściekłość moja przestała już panować nad sobą. Czułem odruchową potrzebę walenia w coś, resztką zaś zastanowienia kazała mi szanować człowieka o tyle starszego ode mnie, jak również — dla jej artystycznej wartości — niemiecką porcelanę, stojącą w pobliżu barona. Rzuciłem się na jego nowy cylinder, strąciłem go na ziemię, zdeptałem, sililem się rozgnieść go zupełnie. Zerwałem rondo, przedarłem na pół główkę, nie zważając na krzyki pana de Charlus; po czym, przebiegłszy pokój, otwarłem drzwi. Ku memu zdumieniu po obu stronach drzwi stali dwaj lokaje, którzy oddalili się wolno, aby się mogło zdawać, że znaleźli się tam jedynie przypadkiem. (Dowiedziałem się później ich nazwisk: jeden nazywał się Burnier, drugi Charmel). Nie oszukano mnie ani na chwilę to tłumaczenie podsuwane mi ich niedbałym krokiem. Było nieprawdopodobne; trzy inne hipotezy wydały mi się wiarygodniejsze; jedna, że baron przyjmuje czasem gości, przeciw którym mógłby potrzebować pomocy (ale czemu?); uważa tedy za potrzebne mieć w pobliżu odzież. Druga, że zwabieni ciekawością, podsłuchiwali po prostu, nie przypuszczając, abym wyszedł tak szybko. Trzecia, że cała scena, którą mi zrobił pan de Charlus, była przygotowana i odegrana; że sam polecił im, aby słuchali, przez gust do teatralności, połączonej może z jakimś *Nunc erudimini*<sup>884</sup>, z którego każdy mógł wyciągnąć naukę.

Gniew mój nie uśmierzył gniewu barona, ale moje wyjście z pokoju najwyraźniej przejęło go szczerą boleścią. Odwołał mnie, kazał mnie zawrócić i w końcu jakby zapomniawszy, że przed chwilą, mówiąc o swoich „dostojnych stopach”, czynił mnie niejako świadkiem własnej deifikacji<sup>885</sup>, pobiegł pędem, dopadł mnie w sieni i zagroził sobą drzwi.

— No — rzekł — nie bądź pan dzieckiem, wróć na minutę; kto mocno kocha, ten mocno karci, jeżeli więc pana skarciłem, to dlatego, że pana bardzo kocham.

Gniew mój opadł, puściłem mimo uszu słowo „karcić” i udałem się za baronem, który przywoławszy lokaja, kazał mu bez żadnej urazy zabrać strzepy cylindra, który zastąpiono innym.

<sup>882</sup>*forte* (wł., muz.) — mocno, głośno. [przypis edytorski]

<sup>883</sup>*fortissimo* (muz., wł.) — bardzo głośno, bardzo mocno. [przypis edytorski]

<sup>884</sup>*Nunc erudimini* (łac.) — Teraz nauczcie się (słowa z Ps 2, 10, w kulturze francuskiej znane z użycia ich przez Bossueta w mowie żałobnej poświęconej Henryce Marii de France, księżniczce francuskiej i królowej Anglii). [przypis edytorski]

<sup>885</sup>*deifikacja* — ubóstwienie. [przypis edytorski]

— Jeżeli mi pan zechce zdradzić, kto mnie nikczemnie spotwarzył — rzekłem do pana de Charlus — zostaję, aby się dowiedzieć o tym i aby skarać szalbierza.

— Jak to, więc pan nie wie? Czy pan nie zachowuje w pamięci tego, co pan mówi? Czy pan myśli, że osoby, które mi oddają tę usługę, aby mnie ostrzec, nie proszą na wstępie o sekret? I czy pan myśli, że ja chybię sekretu temu, komu go przyrzekłem?

— Zatem nie może mi pan powiedzieć? — spytałem, ostatni raz szukając w głowie (gdzie nie znajdowałem nikogo), komu mogłem coś mówić o panu de Charlus.

— Czyś pan nie słyszał, że przyrzekł sekret swemu informatorowi — rzekł baron świszczącym głosem. — Widzę, że ze skłonnością do ohydnych paplania łączy pan zwyczaj daremnych nalegań. Powinieneś pan bodaj umieć skorzystać z naszej ostatniej rozmowy i mówić po to, aby coś powiedzieć, a nie kręcić się w kółko dokoła niczego.

— Panie baronie — rzekłem, cofając się — pan mnie znieważa; wobec tego, że mnie pan kilkakrotnie przewyższa wiekiem, jestem bezbronny, gra jest nierówna. Z drugiej strony, nie mogę pana przekonać; przysiągłem panu, że nic nie mówił.

— Zatem ja kłamię! — wykrzyknął straszliwym głosem, robiąc taki skok, że się znalazł o dwa kroki ode mnie.

— Oszukano pana.

Wówczas słodkim, serdecznym, melancholijnym głosem, niby w owych symfoniach granych bez pauzy między częściami, i gdzie lube, idylliczne scherzo<sup>886</sup> następuje po gromach pierwszego ustępu, baron rzekł niespodzianie:

— To bardzo możliwe. W zasadzie, powtórzone słowa rzadko bywają prawdziwe. To pańska wina, jeżeli, nie skorzystawszy ze sposobności widzenia mnie, którą panu ofiarowałem, nie dał mi pan, za pomocą szczerých i codzienných słów stwarzających zaufanie, jedynej i stanowczej rękąmi przeciw słowu, które pana czyniło zdrajcą. W każdym razie, prawdziwe czy fałszywe, słowo to zrobiło swoje. Nie mogę się już wyzwolić z wrażenia, jakie na mnie sprawiło. I nie mogę nawet powiedzieć, że kto mocno kocha, mocno karci, bo choć pana mocno skarciłem, nie Kocham już pana.

Mówiąc to, baron zmusił mnie, abym usiadł. Zadzwoił. Nowy lokaj wszedł do pokoju.

— Przynies coś do picia i kaź zaprzęgać.

Powiedziałem, że mi się nie chce pić, że jest późno i że mam zresztą swój powóz.

— Prawdopodobnie zapłacono go i odprawiono — rzekł baron — niech się pan tym nie zajmuje. Kazałem zaprzęgać, aby pana odwieziono... Jeżeli się pan boi, że jest za późno... mógłbym panu dać pokój tutaj...

Powiedziałem, że matka byłaby niespokojna.

— Och, tak, prawdziwe czy fałszywe, słowa zrobiły swoje. Moja nieco przedwczesna sympatia zakwitła zbyt rychło; i jak te jabłonie, o których pan tak poetycznie mówił w Balbec, nie wytrzymała pierwszego przymrozka.

Gdyby sympatia pana de Charlus wciąż była jeszcze żywa, baron nie mógłby postępować inaczej; powtarzając bowiem, że wszystko między nami skończone, zatrzymywał mnie, dawał mi pić, ofiarowywał nocleg i obiecywał mnie odesłać. Robił nawet wrażenie, że boi się chwili, gdy się ma rozstać ze mną i zostać sam — owym rodzajem nerwowego lęku, jakiego jego bratowa i kuzynka Oriana doświadczała godzinę wprzódy, kiedy mnie zmuszała, abym został jeszcze trochę, z tą samą ulotną sympatią do mnie, z tą samą żądzą przedłużenia minuty.

— Na nieszczęście — dodał pan de Charlus — nie mam daru wskrzeszenia tego, co raz szeszło. Moja sympatia dla pana już umarła. Nic jej nie może wrócić życia. Sądzę, iż nie ubliżę samemu sobie, wyznając, że żałuję tego. Czuję się zawsze trochę jak Booz Wiktora Hugo:

Jestem wdowiec, samotny, wieczór na mnie pada.

Szedłem z baronem przez wielki zielony salon. Powiedziałem, na ślepo, że salon jest bardzo piękny.

<sup>886</sup>scherzo (muz.) — utwór instrumentalny o trójdzielnej budowie i szybkim tempie. [przypis edytorski]

— Prawda? — odparł. — Trzeba coś kochać. Boazerie rzeźbił Bagard<sup>887</sup>. Dosyć ładnie, jak pan widzi, dostosowano je do krzeseł *beauvais* i do konsoli. Uważa pan: powtarzają ten sam dekoracyjny motyw. Były już tylko dwie rezydencje, gdzie jest coś podobnego: Luwr i dom pana d’Hinnisdal. Ale oczywiście z chwilą gdy postanowiłem zamieszkać przy tej ulicy, znalazł się stary pałac Chimay, którego nikt nigdy nie widział, bo zjawiał się tylko dla mnie. W sumie to niezłe. Mogłoby zapewne być lepiej, ale ostatecznie: niezłe. Prawda, są tu ładne rzeczy; portrety moich wujów, króla polskiego i króla angielskiego: Mignard<sup>888</sup>. Ale co ja panu mówię, wie pan to równie dobrze jak ja, skoro pan czekał w tym salonie. Nie? A! Widocznie wprowadzono pana do błękitnego salonu — rzekł tonem bądź pogardy dla mego braku ciekawości, bądź tonem osobistej wyższości, jakby się nie zatroszczył o to, gdzie mi kazano czekać. — O, w tym gabinecie są wszystkie kapelusze księżniczki Elżbiety<sup>889</sup>, księżnej de Lamballe<sup>890</sup> i królowej<sup>891</sup>. To pana nie interesuje; można by rzec, że pan nie widzi. Może pan jest dotknięty zanikiem nerwu optycznego. Jeżeli pan przekłada ten rodzaj piękności, oto *Tęcza* Turnera<sup>892</sup>, która zaczyna błyszczeć między tymi dwoma Rembrandtami na znak naszego pojednania. Słyszy pan: Beethoven przyłącza się do niej.

I w istocie rozległy się pierwsze akordy trzeciej części *Symfonii pastoralnej*, „radość po burzy”, wykonane niedaleko nas, z pewnością na pierwszym piętrze. Spytałem naiwnie, jakim cudem grają to tutaj i co to za muzykanci.

— Ha! Cóż? Nie wiadomo. Nigdy nie wiadomo. To są harmonie niewidzialne. To ładne, prawda — rzekł tonem lekko impertynenckim, który jednak przypominał trochę wpływ i akcent Swanna. — Ale pan troszczy się o to tyle co gęś o fiołki. Chce pan wracać do domu, choćbyś miał chybić szacunku Beethovenowi i mnie. Wydaje pan sam na siebie sąd i wyrok — dodał baron serdecznie i smutno, kiedy nadeszła chwila pożegnania. — Daruje pan, że go nie odprowadzę, jak by grzeczność nakazywała. Pragnąc nie ujrzyć już pana nigdy, nie dbam o to, aby z nim spędzić jeszcze pięć minut. Zmęczony jestem i mam dużo do czynienia. — Jednakże widząc, że pogoda jest piękna, dodał:

— Zresztą dobrze, odwiozę pana. Jest wspaniały księżyc, pojedę go oglądać do Lasku, skoro pana odstawię na miejsce. Jak to, pan się nie umie golić, nawet kiedy masz proszony obiad, przepuścił pan kilka włosów — rzekł baron, ujmując mój podbródek w dwa jakby namagnesowane palce, które, zawahawszy się chwilę, pobiegły ku moim uszom jak palce fryzjera. — Ha! To byłoby przyjemne oglądać ten „błękitny blask księżycy” w Lasku z kimś takim jak pan — rzekł z nagłą i jakby mimowolną słodyczą, po czym smutno dodał: — Bo pan jest i tak bardzo miły, mógłby pan być miłszy niż ktokolwiek — dodał, dotykając po ojcowsku mego ramienia. — Dawniej, muszę to panu powiedzieć, wydawał mi się pan bardzo nieciekawym.

Powinienem był pomyśleć, że wciąż mu się wydaję takim. Wystarczyło mi przypomnieć sobie wściekłość, z jaką mówił do mnie niespełna przed pół godziną. Mimo to miałem wrażenie, że pan de Charlus jest w tej chwili szczery, że jego dobre serce góruje nad tym, co mi się wydało stanem niemal szaleństwa z podejrzliwości i dumy. Powóz stał, a baron przedłużał jeszcze rozmowę.

— No — rzekł — niech pan siada; za pięć minut będziemy u pana. I powiemy sobie dobranoc, które położy kres, i to na zawsze, naszym stosunkom. A skoro się mamy rozstać na zawsze, lepiej, żebyśmy to zrobili, jak w muzyce, na doskonałym akordzie.

Mimo tych uroczystych zapewnień, że się ujrzemy nigdy, przysiągłbym, iż pan de Charlus, niekontent, że się zapomniał przed chwilą, i bojąc się, że mi sprawił przykrość, chętnie ujrzałby mnie jeszcze raz. Nie myliłem się, bo po chwili rzekł:

<sup>887</sup> *Bagard, César* (1620–1709) — francuski rzeźbiarz w drewnie i dekorator. [przypis edytorski]

<sup>888</sup> *Mignard* — francuski malarz: Pierre Mignard (1612–1695) lub jego brat Nicolas Mignard (1606–1668). [przypis edytorski]

<sup>889</sup> *Elżbieta Filipina Maria Helena de France*, zwana *Madame Elisabeth* (1764–1794) — księżniczka francuska, siostra królów Francji: Ludwika XVI, Ludwika XVIII i Karola X. [przypis edytorski]

<sup>890</sup> *Marie-Thérèse-Louise de Savoie-Carignan* (1749–1792) — francuska arystokratka, żona Ludwika Aleksandra, księcia Lamballe, przyjaciółka Marii Antoniny, królowej Francji. [przypis edytorski]

<sup>891</sup> *królowa* — Maria Antonina Maria Antonina (1755–1793), królowa Francji jako żona Ludwika XVI. [przypis edytorski]

<sup>892</sup> *Turner, William* (1775–1851) — wybitny angielski malarz pejzażysta, prekursor impresjonizmu. [przypis edytorski]

— Cha, cha! Ale ja zapomniałem najważniejszego. Przez pamięć pańskiej drogiej babci kazałem oprawić dla pana ciekawe wydanie pani de Sévigné. Drobiazg ten nie pozwala, aby to nasze spotkanie było ostatnim. Trzeba się pocieszyć świadomością, że rzadko się w jednym dniu likwiduje zawikłane sprawy. Niech pan pomyśli, jak długo trwał kongres wiedeński<sup>893</sup>.

— Ależ ja mógłbym posłać po to, nie trudząc pana — rzekłem uprzejmie.

— Będziesz ty cicho, głuptasie mały — odparł baron z gniewem — wolałby pan oszczędzić sobie tej śmieszności, aby uważać za małą rzecz honor, iż będziesz prawdopodobnie przyjęty przeze mnie (nie mówię na pewno, bo może po prostu lokaj odda panu te książki).

Opamiętał się:

— Nie chcę się z panem rozstawać na tych słowach. Nie trzeba dysonansu; przed wiekiutą ciszą: akord dominantowy.

Miałem wrażenie, że to dla własnych nerwów baron obawia się powrotu tuż po ostrych słowach zwady.

— Nie chce pan przejechać się ze mną do Lasku — rzekł tonem nie pytającym, lecz twierdzącym i, jak mi się zdawało, nie dlatego, że nie chciał mi tego zaofiarować, ale że jego miłość własna bała się odmowy.

— Więc tak — rzekł, zwołując jeszcze — to chwila, kiedy, jak powiada Whistler, mieszcuchy wracają do domu (może baron chciał mnie wziąć na ambicję), a kiedy należy zacząć patrzeć. Ale pan nawet nie wie, co to jest Whistler.

Zmieniłem temat i spytałem, czy księżna Iéna jest osobą inteligentną. Pan de Charlus zatrzymał mnie i rzekł tonem nieskończonej wzgardy:

— Och, drogi panie, robi pan aluzje do nomenklatury, z którą nie mam nic do czynienia. Jest może arystokracja u mieszkańców Tahiti, ale przyznaję, że jej nie znam. Nazwisko, które pan wymówił, rozległo się jednak, szczególnie rzecz, przed kilku dniami w moich uszach. Zapytano mnie, czybym się zgodził, aby mi przedstawiono młodego księcia de Guastalla. Pytanie zdziwiło mnie; książę de Guastalla nie potrzebuje mi się przedstawiać z tej prostej racji, że jest moim kuzynem i że mnie zna od wieków. Jest to syn księżnej Parmy i jako bardzo dobrze wychowany młody krewny nigdy nie zaniedbuje przedłożyć mi swoich służb w dzień Nowego Roku. Ale po zasięgnięciu informacji okazało się, że nie chodzi o mego krewniaka, ale o syna osoby, którą pan właśnie wspomniał. Ponieważ nie istnieje księżna tego nazwiska, przypuszczałem, że chodzi o jakąś nędzarkę spijającą pod mostem Iéna, która przybrała malowniczo tytuł „księżnej Iéna”, tak jak się mówi Pantera z Batignolles<sup>894</sup> albo Król Stali<sup>895</sup>. Ale nie, chodziło o bogatą osobę, której bardzo piękne meble podziwiałem na wystawie; meble mające nad nazwiskiem posiadacza tę wyższość, że nie są fałszywe. Co do rzekomego księcia de Guastalla, mógłby to być makler giełdowy mojego sekretarza: pieniąż daje tyle rzeczy! Ale nie, to Cesarz, zdaje się, zabawiał się w to, aby dać tym ludziom tytuł zgoła niewakujący. Może to był dowód wszechpotęgi albo ignorancji, albo złośliwości; bądź co bądź, uważam, że to był bardzo niemily figiel spletany mimowolnym uzurpatorom. Ale ostatecznie nie mogę panu wyjaśnić tego wszystkiego, moja kompetencja kończy się na Faubourg Saint-Germain, gdzie pośród wszystkich Courvoisierów i Gallardonów znajdzie pan, jeżeli pan zdoła się tam dostać, stare jędze jakby wyrwane z Balzaca, które pana zabawią. Oczywiście, to nie ma nic wspólnego z czarem księżnej Marii de Guermantes, ale beze mnie i bez mojego sezamu jej salon jest niedostępny.

— To podobno bardzo piękne, prawda, proszę pana, pałac księżnej Marii de Guermantes?

— Och, to nie jest bardzo piękne. To jest najpiękniejsze w świecie; po samej księżnej Marii, oczywiście.

— Czy księżna Maria jest czymś więcej od księżnej Oriany?

<sup>893</sup> *kongres wiedeński* (1814–1815) — międzynarodowa konferencja dyplomatyczna, zwołana w celu odtworzenia europejskiego porządku politycznego po upadku francuskiego cesarza Napoleona I Bonaparte. [przypis edytorski]

<sup>894</sup> *Pantera z Batignolles* — francuska grupa anarchistyczna, zał. w 1882. [przypis edytorski]

<sup>895</sup> *Król Stali* — Andrew Carnegie (1835–1919), amerykański przemysłowiec szkockiego pochodzenia, właściciel stalowni; w swoich czasach uważany za największego bogacza na świecie. [przypis edytorski]

— Och, jak można porównywać!

Trzeba zauważyć, że gdy ludzie światowi mają trochę wyobraźni, koronują i detronizują, wedle swoich sympatii i swoich uraz, osoby, których sytuacja zdawała się najtrwalsza i najbardziej ustalona.

— Księżna Błażejowa de Guermantes (nie nazywając jej Orianą, baron chciał może stworzyć większą przepaść między nią a mną) jest urocza, wyższa ponad wszystko, co pan może przeczuwać. Ale, ostatecznie, ona jest czymś niewspółmiernym ze swoją kuzynką. Tamta reprezentuje ściśle to, co przekupki z Hal mogą widzieć w osobie księżnej Metternich<sup>896</sup>, ale Metternichowa myślała, że to ona wylansowała Wagnera, dlatego że знаła Wiktora Maurel<sup>897</sup>. Księżna Maria, lub raczej jej matka, znała prawdziwego Wagnera. To jest urok, nie mówiąc o niezrównanej piękności tej kobiety. I choćby same ogrody Estery<sup>898</sup>!

— Czy nie można ich zwiedzić?

— Ależ nie, trzeba by być zaproszonym, a nie zapraszają nigdy *nikogo* bez mojej interwencji.

I cofając natychmiast wysuniętą na chwilę przynętę nadziei, baron podał mi rękę, bo przybyliśmy pod mój dom.

— Moja rola jest skończona, młody człowieku, dodam tylko kilka tych słów. Kto inny może ofiaruje panu pewnego dnia swoją sympatię, jak ja to uczyniłem. Obecny przykład niechaj panu posłuży za naukę. Niech pan nie zrazi tego człowieka. Sympatia jest zawsze cenna. To, czego nie można zrobić w życiu samemu (bo są rzeczy, których nie można żądać ani dokonać ich, ani pragnąć, ani dowiedzieć się samemu), można zrobić w kompanii, i na to nie potrzeba trzynastu, jak w powieści Balzaca, ani czterech, jak w *Trzech muszkietierach*. Żegnam.

Baron musiał być zmęczony i widocznie wyrzekł się zamiaru oglądania księżycy, bo poprosił mnie, abym kazał stangretowi wracać. W tej samej chwili uczynił żywy ruch, jakby chciał coś zmienić. Ale ja już powtórzyłem rozkaz i aby się nie zapóźniać dłużej, zadzwoniłem do bramy, zapomniawszy, że miałem opowiedzieć panu de Charlus o cesarzu niemieckim, o generale Botha, rzeczy przed chwilą tak naglące, ale przepłoszone nieoczekiwanym i piorunującym przyjęciem barona.

Za powrotem ujrzałem na biurku list, który młody lokaj napisał do jednego ze swoich przyjaciół; widocznie zapomniał go na biurku. Od czasu jak nie było matki, służący ów nie cofał się przed żadną poufalością; zawiniłem niewątpliwie, odpłacając mu to i czytając list bez koperty, szeroko rozłożony i — co było moim usprawiedliwieniem — zapraszający mnie niejako do czytania.

„Drogi przyjacielu i kuzynie!

Mam nadzieję, że zdrowie twoje jest zawsze dobre i że tak samo mie-  
wa się cała twoja rodzinka, w szczególności mój młody chrześniak Józef,  
którego nie miałem jeszcze okoliczności poznać, ale którego wolę od was  
wszystkich jako swojego chrześniaka; relikwie serca też mają swe prochy,  
niech świętokradzka ich oszczędzi ręka. Zresztą, drogi przyjacielu i kuzynie,  
kto ci mówi, że jutro ty i twoja droga żona, a moja kuzynka Maria, nie  
będziecie oboje strąceni na dno morza niby majtek przywiązany do szczytu  
masztu, bo to życie jedynie mroczną jest doliną. Drogi przyjacielu, muszę  
ci powiedzieć, zdumienie twoje nie zdziwi mnie wcale, że oddaję się teraz  
namiętnie poezji, bo trzeba przecie jakoś zabić czas. Toteż, drogi przyjacielu,  
nie bądź zanadto oburzony, że jeszcze nie odpowiedziałem na twój ostatni  
list; jeśli nie przebaczenie, przybądź, zapomnienie. Jak wiesz, matka naszej  
pani zgasła w niewysłowionych cierpieniach, które ją dość utrapily, bo było  
do niej aż trzech lekarzy. Pogrzeb był piękny, bo wszystkie stosunki naszego  
pana przyszły tłumem, jak również kilku ministrów. Dwie godziny szło się

<sup>896</sup> *Paulina von Metternich* (1836–1921) — węgierska arystokratka, żona Richarda von Metternicha, słynna z urody i elegancji bywalczyni salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera. [przypis edytorski]

<sup>897</sup> *Maurel, Victor* (1848–1923) — francuski śpiewak operowy, baryton. [przypis edytorski]

<sup>898</sup> *ogrody Estery* — scenografia III aktu tragedii Racine'a *Estera* przedstawia wspaniałe ogrody Estery. [przypis edytorski]

na cmentarz, na co wszyscy szeroko otworzycie oczy w waszej wiosce, bo ze starą Michu z pewnością nie będzie takich ceregielów. Toteż moje życie będzie już tylko długim łkaniem. Używam sobie co wlezie na motocyklu, na którym nauczyłem się świeżo jeździć. Co byście powiedzieli, drodzy przyjaciele, gdybym tak przybył do was z błyskawiczną szybkością do Ecorres. Ale zamilczeć o tym nie będzie w mej mocy, bo pijaństwo niedoli nad rozum silniejsze. Bywam u Księżnej de Guermantes, u osób, których nazwiska nigdy nawet nie słyszałeś w naszej ciemnej krainie. Toteż z przyjemnością przyślę wam książki Racine’a, Wiktora Hugo, *Wybór pism Chenedolle’a*<sup>899</sup>, Alfreda de Musset, bo chciałbym ziemię, co mi dała życie, wyleczyć z ciemnoty, która wiedzie nieuchronnie do zbrodni. Nie mam ci już nic do powiedzenia i posyłam ci, jako pelikan, długą zmęczony podróżą, moje pozdrowienia, zarówno jak twojej żonie, memu chrześniakowi i twojej siostrze Róży. Oby można było nie rzec o niej: I różą będąc, żyła, ile żyją róże, jak powiedzieli Wiktor Hugo, sonet Arversa<sup>900</sup>, Alfred de Musset, wszyscy ci wielcy geniusze, którzy z tego powodu zginęli w płomieniach stosu jak Joanna d’Arc. Oczekuję twojej najbliższej wieści, przyjm me całunki jak całunki brata.

*Perigot (Józef)*”.

Przyciąga nas wszelkie życie ukazujące nam coś nieznanego, ostatnie złudzenie.

W ogóle to, co mi powiedział pan de Charlus, podcięło niby biczem moją wyobraźnię; pozwalając jej zapomnieć, jak bardzo rzeczywistość rozczarowała ją u pani de Guermantes (z nazwiskami osób jest jak z nazwami miejscowości), baron pchnął tę wyobraźnię w stronę księżnej Marii. Zresztą, jeżeli pan de Charlus oszukał mnie na jakiś czas co do urojonych wartości i odmian ludzi światowych, to jedynie dlatego, że sam się łudził w tej mierze. Może tak było dlatego, że baron nic nie robił, nie pisał, nie malował, nie czytał nawet nic w sposób poważny i głębszy. Że jednak przerastał o kilka stopni ludzi światowych, tedy mimo iż czerpał treść rozmowy z nich i ich obrazu, nie rozumiano go. Mówiąc jako artysta, mógł co najwyżej wydobyć zwodniczy urok światowców. Ale mógł go wydobyć jedynie dla artystów, dla których baron mógłby być tym, co ren dla Eskimosów: szacowne to zwierzę wyrwa dla nich na jałowych skałach porosty, mchy, których nie umieliby odkryć ani spożytkować, ale które, przeżute przez rena, stają się dla mieszkańców Dalekiej Północy posilnym pokarmem.

Dodam do tego, że obrazy wielkiego świata, jakie kreślił pan de Charlus, nabierały wiele życia dzięki pomieszaniu jego wściekłych nienawiści i jego żarliwych sympatii. Nienawiści kierowały się zwłaszcza przeciw młodym ludziom, adorację budziły szczególnie niektóre kobiety.

O ile pan de Charlus pomieścił pośród nich księżną Marię de Guermantes na najwyższym tronie, o tyle tajemnicze jego słowa o „niedostępnym pałacu Aladyna”, w jakim mieszka jego kuzynka, nie wystarczają, aby wytłumaczyć moje zdumienie — po którym rychło nastąpiła obawa, że padł ofiarą czyjś figla, zmierzającego ku temu, aby mnie wyrzucono za drzwi z domu, gdzie bym się zjawił bez zaproszenia — kiedy, mniej więcej w dwa miesiące po owym obiedzie u księżnej Oriany i kiedy księżna Oriana była w Cannes, otwórzysz kopertę, niemającą z pozoru nic nadzwyczajnego, wyczytałem na karcie te słowa: „Księżna Maria de Guermantes, z domu księżniczka bawarska, będzie u siebie w domu dnia...” itd.

Bez wątpienia, być zaproszonym do księżnej Marii nie było może ze światowego punktu widzenia czymś trudniejszym niż być na obiedzie u księżnej Oriany, a moje słabe wiadomości heraldyczne pouczyły mnie, że tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc*<sup>901</sup>. Następnie powiadałem sobie, że inteligencja kobiety światowej nie może tak dalece różnić się gatunkiem od inteligencji innych kobiet światowych, jak to utrzymywał pan de

<sup>899</sup> *Chenedollé, Charles-Julien Lioult de (1769–1833)* — francuski poeta. [przypis edytorski]

<sup>900</sup> *Arvers, Félix (1806–1850)* — francuski poeta i dramaturg. [przypis edytorski]

<sup>901</sup> tytuł *prince* nie jest wyższy od tytułu *duc* — zaznaczyliśmy już wyżej, że polska tytulatura nie zna tej różnicy, tym samym zarówno tytuł Oriany de Guermantes (*duchesse*), jak Marii de Guermantes (*princesse*) wypadło tłumaczyć przez „księżna”. [przypis tłumacza]

Charlus. Ale moja wyobraźnia, podobna do Elstira w trakcie oddawania efektu perspektywy bez uwzględnienia wiadomości z fizyki, które mógł skądinąd posiadać, malowała mi nie to, com wiedział, ale to, co ona widziała; to, co ona widziała, to znaczy, co jej ukazywało nazwisko. Otóż nawet kiedy nie znałem diuszesy Oriany, nazwisko „Guermantes” poprzedzone tytułem *princesse*, niby nuta, kolor albo cyfra (głęboko zróżnicowane od otaczających walorów przez właściwy im matematyczny lub estetyczny „znak”), budziło we mnie zawsze coś całkiem odmiennego. Przy tym tytule odnajduje się je zwłaszcza w pamiętnikach z czasów Ludwika XIII i Ludwika XIV; wyobrażałem sobie pałac księżnej Marii mniej lub więcej odwiedzany przez księżnę de Longueville i przez wielkiego Kondeusza<sup>902</sup>, których obecność czyniła mało prawdopodobnym, abym się tam dostał kiedyś.

Mimo tego, co w takich sztucznych powiększeniach zależne jest od rozmaitych subiektywnych punktów widzenia (do czego jeszcze powrócę), faktem jest, że przecież istnieje we wszystkich tych istotach jakaś przedmiotowa rzeczywistość, a tym samym różnice między nimi.

W jaki sposób zresztą mogłoby być inaczej? Ludzkość, z którą obcujemy i która tak mało podobna jest do naszych marzeń, jest jednak ta sama, którą widzieliśmy w pamiętnikach, w listach wybitnych ludzi i którą pragnęliśmy poznać. Najzupełniej nieznaczący starzec, z którym sąsiadujemy przy obiedzie, jest tym, który — jak to czytaliśmy ze wzruszeniem w książce o wojnie roku 1870 — napisał ów dumny list do księcia Fryderyka Karola<sup>903</sup>. Nudzimy się przy obiedzie, bo wygnano zeń wyobraźnię, a bawi nas książka, bo wyobraźnia dotrzymuje nam w niej towarzystwa. Ale i tu, i tam chodzi o te same osoby. Lubilibyśmy znać panią de Pompadour<sup>904</sup>, która popierała tak skutecznie sztukę, ale znudzilibyśmy się z nią tak samo jak z nowoczesnymi egeriami<sup>905</sup>, do których nie możemy się wybrać z ponowną wizytą, tak są nieciekawe.

Mimo to faktem jest, że te różnice istnieją. Ludzie nigdy nie są całkiem jednakowi; ich sposób odnoszenia się do nas — przy równej, aby tak rzec, życzliwości — zdradza różnice, które w ostatecznym rachunku wyrównują się. Kiedym poznał panią de Montmorency, lubiła mi mówić rzeczy nieprzyjemne; ale kiedy potrzebowałem jakiejś przysługi, wówczas, aby mi ją wyświadczyć, rzuciła na szalę wszystkie swoje wpływy, nie oszczędzając niczego. Podczas gdy inna dama, jak na przykład pani de Guermantes, nie chciała mi nigdy zrobić przykrości, mówiła o mnie jedynie to, co by mi mogło sprawić przyjemność, zasypywała mnie wszystkimi uprzejmościami stanowiącymi duchowe bogactwo Guermantów, ale gdybym ją prosił o cokolwiek poza tym wszystkim, nie zrobiłaby dla mnie ani kroku, jak w owych pałacach, gdzie gość ma do swojego rozporządzenia samochód, kamerdynera, ale gdzie niepodobna uzyskać szklanki jabłecznika nieprzewidzianej programem. Kto był moją prawdziwą przyjaciółką: czy pani de Montmorency, tak rada zawsze, ilekroć mogła mnie drasnąć, a zawsze gotowa mi usłużyć, czy pani de Guermantes, odczuwająca dotkliwie najmniejszą przykrość, jaką mi ktoś zrobił, a niezdolna do najmniejszego wysiłku, aby mi być użyteczną? Z drugiej strony, powiadano, że księżna Oriana mówi jedynie o błahostkach, a kuzynka jej, przy inteligencji zupełnie miernej, o rzeczach zawsze interesujących. Formy intelektu są tak rozmaite, tak sprzeczne, nie tylko w literaturze, ale w „świecie”, że nie sami Baudelaire i Mérimée mają prawo gardzić sobą wzajem. Właściwości te tworzą w każdej osobie całokształt spojrzeń, rozmów, czynów tak zwarty, tak despotyczny, że kiedy jesteśmy w ich towarzystwie, całość ta wydaje się nam czymś wyższym od wszystkiego innego. U pani de Guermantes słowa jej, wyprowadzone niby teoremat<sup>906</sup> z jej umysłowości, wydawały mi się jedynie właściwe w danej chwili. I byłem w gruncie jej zdania, kiedy mi mówiła, że pani de Montmorency

<sup>902</sup>Kondeusz — Ludwik II, książę de Condé (1621–1686), z dynastycznej rodziny Bourbonów; marszałek Francji, wybitny dowódca w czasie wojny trzydziestoletniej. [przypis edytorski]

<sup>903</sup>Fryderyk Karol Hohenzollern (1828–1885) — książę pruski, dowódca armii podczas wojny francusko-pruskiej. [przypis edytorski]

<sup>904</sup>pani de Pompadour, właśc. Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour (1721–1764) — faworyta francuskiego króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>905</sup>Egeria (mit. rzym.) — nimfa wodna, doradczyni króla Rzymu Numy Pompiliusza; przen. jako rzecz. popolity egeria oznacza doradczynie, powiernicę męża stanu a. artysty. [przypis edytorski]

<sup>906</sup>teoremat (z gr.) — twierdzenie pochodne, wyprowadzone na drodze wnioskowania dedukcyjnego z aksjomatów (pewników, twierdzeń pierwotnych) danego systemu. [przypis edytorski]

jest głupia i że ma umysł otwarty na wszystkie rzeczy, których nie rozumie, lub kiedy, dowiadując się o jakiejś jej złośliwości, księżna mówiła: „Pan ją nazywa dobrym stworzeniem, dla mnie to jest potwór”. Ale ta tyrania rzeczywistości, jaką mamy przed sobą, ta oczywistość lampy, przy której odległa już jutrzienka błędnie jak proste wspomnienie, znikają, kiedy byłem daleko od pani de Guermentes i kiedy inna dama mówiła mi, stawiając się na równej stopie ze mną i sądząc księżnę jako coś będącego o wiele poniżej nas: „Oriana nie interesuje się w gruncie rzeczy niczym ani nikim”, a nawet (co w rozmowie z panią de Guermentes zdawałoby się niepodobne do wiary, tak bardzo ona sama głosiła rzecz przeciwną): „Oriana jest snob”. Ponieważ żadna matematyka nie pozwala zmienić pani d'Arpajon i pani de Montpensier w jednolite wartości, niepodobna by mi odpowiedzieć, gdyby mnie spytano, która z nich wydaje mi się wartościowsza.

Otóż pomiędzy swoistymi rysami salonu księżnej Marii de Guermentes najpowszechniej cytowano ekskluzywizm, wynikający po części z królewskiego urodzenia księżnej, a zwłaszcza z kopalnych niemal, arystokratycznych przesądów księcia Gilberta, przesądów, z których księstwo Błażejowie nieraz żartowali przede mną, a które, rzecz prosta, musiały mi czynić czymś jeszcze nieprawdopodobniejszym owo zaproszenie. Mnie by miał zaprosić człowiek, dla którego istniały jedynie królewskie i książęce wysokości! Trzeba wiedzieć, że książę Gilbert przy każdym obiedzie robił scenę, ponieważ nie dano mu przy stole miejsca, do którego miałby prawo za Ludwika XIV — miejsca, które dzięki swojej nadzwyczajnej erudycji w kwestiach historii i genealogii znał on jeden. Z tej przyczyny wielu ludzi z towarzystwa rozstrzygało na korzyść księstwa Błażejów różnice dzielące ich od kuzynostwa. „Księstwo Błażejowie są o wiele bardziej nowoczesni, inteligentniejsi, nie zajmują się, jak tamci, wyłącznie liczbą pokoleń, ich salon wyprzedza o trzysta lat salon ich kuzyna” — to były potoczne zdania, których wspomnienie przejmowało mnie teraz dreszczem, kiedy patrzyłem na owo zaproszenie, mające w świetle o wiele więcej szans, że mi je przesłał jakiś kawalarz.

Gdyby jeszcze księstwo Błażejowie nie byli w Cannes, spróbowałbym się dowiedzieć przez nich, czy otrzymane zaproszenie jest prawdziwe. Wątpliwość moja nie wynikała nawet (jak sobie pochlebiałem przez chwilę) z uczucia, które byłoby obce człowiekowi światowemu i które tym samym literat, choćby poza tym należał do kasty światowców, powinien by odtworzyć, aby być całkowicie „obiektywnym” i odmalować każdą klasę odmiennie. Niedawno w istocie znalazłem w uroczym tomie pamiętników niepewności analogiczne do tych, w jakie mnie wpędziło zaproszenie księżnej Marii. „Jerzy i ja (albo: „Hély i ja”, nie mam pod ręką książki, aby sprawdzić) płonęliśmy tak bardzo chęcią dostania się do salonu pani Delessert<sup>907</sup>, że otrzymawszy zaproszenie, uważaliśmy za ostrożniejsze upewnić się, każdy na swoją rękę, czyśmy nie padli ofiarą jakiegoś figla”. Otóż piszący te słowa jest nie kim innym, tylko hrabią d'Haussonville<sup>908</sup> (później zięciem księcia de Broglie), a drugi młody człowiek, który na „swoją rękę” upewnia się, czy się nie stał igraszką mistyfikacji, to jest — wedle tego, czy się nazywa Jerzy, czy Hély — jeden z dwóch nierozłącznych przyjaciół pana d'Haussonville, pan d'Harcourt albo książę de Chalais.

W dniu, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii, dowiedziałem się, że księstwo Błażejowie przybyli wczoraj do Paryża, i postanowiłem wybrać się do nich rano. Ale księstwo, wyszedłszy wcześniej, jeszcze nie wrócili; czyhałem zrazu z saloniku, który mi się wydał dobrym obserwatorium, na powrót powozu. W rzeczywistości źle wybrałem swoją placówkę, skąd ledwie widziałem nasz dziedziniec, oglądając w zamian inne dziedzińce, co, mimo iż pozbawione pożytku, rozerwało mnie na chwilę. Nie tylko w Wenecji ma się owe widoki na kilka domów naraz, które skusiły tylu malarzy, ale i w Paryżu. Nie jest to przypadek, że wspominam tu Wenecję. Jej dzielnice ubogich przywodzą mi na myśl niektóre ubogie dzielnice paryskie, z ich wysokimi, rozszerzającymi się kominami, którym ranne słońce daje tak żywo różowe i czerwone tony; to cały ogród, kwitnący

<sup>907</sup> *pani Delessert* — Valentine de Laborde (1806–1894), znana też jako Valentine Delessert: od 1824 żona Gabrieli Delessert; w czasach monarchii lipcowej prowadziła słynny salon; znana również jako kochanka pisarza Prospera Mérimée, pisarza i fotografa Maxime'a du Camp oraz polityka i filozofa Charles'a de Remusat. [przypis edytorski]

<sup>908</sup> *d'Haussonville, Joseph* (1809–1884) — francuski polityk i historyk; członek Akademii Francuskiej (1869), od 1836 mąż Luizy d'Haussonville (1818–1882), córki księcia Achille Charles'a de Broglie. [przypis edytorski]



ponad domami i kwitnący w odcieniach tak rozmaitych, iż można by rzec, że nad miastem wznosi się ogród jakiegoś miłośnika tulipanów z Delft czy z Haarlemu. Zresztą nadzwyczajna bliskość domów, których okna wychodzą na wspólny dziedziniec, zmienia każde okno w obraz, gdzie kucharka marzy spoglądając w dół, gdzie nieco dalej młodej dziewczynie czesze włosy stara kobieta z twarzą czarownicy, ledwie dającą się rozróżnić w mroku; i tak, każdy dziedziniec, tłumiąc hałas swoim oddaleniem, pozwalając oglądać milczące gesty w prostokącie umieszczonym pod szkłem zamkniętego okna, tworzy dla sąsiada wystawę stu zawieszonych obok siebie holenderskich obrazów.

Zapewne, z pałacu Guermantes nie miało się widoków tego samego typu, ale też miało się ciekawe, zwłaszcza z osobliwego punktu trygonometrycznego, gdzie się ulokowałem i gdzie nie zatrzymywało nic oka aż do odległych wyżów, które tworzył (poprzedzające je, niezabudowane prawie tereny położone były na dość stromym zboczu) pałac księżnej Sylistrii i margrabiny de Plassac, wielce szlacheckie krewniaczek pana de Guermantes, których zresztą nie znałem. Aż do tego pałacu (należącego do ich ojca, pana de Bréquigny) nic — tylko niewysokie, obrócone w najrozmaitszych kierunkach budynki, które nie zatrzymując wzroku, przedłużały odległość swoimi skośnymi płaszczyznami. Kryta czerwoną dachówką wieżyczka remizy, gdzie margrabia de Frecourt trzymał powozy, kończyła się iglicą wyższą, ale tak cienką, że nie zasłaniała nic i przywodziła na myśl ładne, dawne budowle szwajcarskie, które strzelają w górę, samotne u stóp gór. Wszystkie te niepewne i rozbieżne punkty, na których odpoczywało oko, oddalały — bardziej niż gdyby go od nas dzieliło kilka ulic i mnogie przypory — pałac pani de Plassac, w istocie dość bliski, ale pozornie odległy niby krajobraz alpejski. Kiedy jego szerokie kwadratowe okna, rozelśnione słońcem niby płac miki, otworzono dla sprzątnięcia, wówczas widząc na różnych piętrach niewyraźnych lokajów trzepiących dywany, można było znaleźć tę samą przyjemność, co oglądając na obrazie Turnera lub Elstira podróźnego w dyliżansie lub przewodnika na rozmaitych stopniach wysokości Św. Gotarda<sup>909</sup>. Ale groziło mi, że z punktu, gdzie się ulokowałem, mógłbym nie zobaczyć wracających państwa de Guermantes; tak iż kiedy po południu zdołałem wrócić na czaty, umieściłem się po prostu na schodach, skąd miałem oko na wylot wjazdowej bramy. Na tych schodach przycupnąłem, mimo że nie mogłem tam podziwiać alpejskich piękności pałacu pana de Bréquigny, tak olśniewających z ich mikroskopijnymi z powodu odległości, a sprzątającymi w tej chwili lokajami.

Otóż to czekanie na schodach miało mieć dla mnie następstwa tak doniosłe, miało mi odsłonić tak ważny krajobraz już nie Turnerowski, ale moralny, że wolę opóźnić relację o tym o parę chwil, poprzedzając ją wizytą u Guermantów, kiedyś się dowiedział, że księstwo wrócili.

Księżę Błażej przyjął mnie sam w bibliotece. W chwili gdy wchodziłem, wyszedł stamtąd mały człowieczek z włosami całkiem białymi, z niepoczesną<sup>910</sup> miną, w czarnym „moytylku”, takim, jakie nosili rejent w Combray i niektórzy przyjaciele mojego dziadka. Człowieczek ów, niepozorny i nieśmiały, skłonił mi się głęboko kilka razy, nie chcąc wyjść, dopóki ja nie wejść. Księżę krzyknął mu z biblioteki coś, czego nie zrozumiałem, tamten zaś odpowiedział nowymi ukłonami skierowanymi do ściany, bo księżę nie mógł go widzieć, mimo to powtarzanymi bez końca, jak owe zbyteczne uśmiechy ludzi rozmawiających przez telefon. Mówił dyszkantem; odkłonił mi się jeszcze raz z unізonością totumfackiego<sup>911</sup>. Mógł to być zresztą jakiś plenipotent<sup>912</sup> z Combray, tak dalece miał ową prowincjonalną minę drobnych ludzi, skromnych tamtejszych starców.

— Zaraz zobaczy pan Oriane — rzekł księżę, kiedy wszedłem. — Swann ma przyjść za chwilę, przynieść jej odbitki swojego studium o monetach zakonu maltańskiego i, co gorsza, olbrzymią fotografię, gdzie kazał odbić dwie strony tych monet; toteż Oriana wolała ubrać się najpierw, aby móc z nim być aż do pory obiadu. Jesteśmy już tak zawaleni gratami, że nie wiemy, gdzie je chować; pytam sam siebie, gdzie my wpakujemy tę foto-

<sup>909</sup>Przełęcz św. Gotarda — jedna z najbardziej znanych przełęczy w Alpach, położona w pld.-wsch. Szwajcarii na wys. 2108 m n.p.m. [przypis edytorski]

<sup>910</sup>niepoczesny (daw.) — następujący w niewłaściwym czasie. [przypis edytorski]

<sup>911</sup>totumfacki (przest.) — osoba zaufana, wypełniająca dla kogoś wszelkie zlecenia i załatwiająca sprawy. [przypis edytorski]

<sup>912</sup>plenipotent (z łac.) — pełnomocnik, osoba upoważniona do działania w czyimś imieniu. [przypis edytorski]

grafię? Ale mam żonę nazbyt uprzejmą, która zanadto lubi robić przyjemność. Myślała, że to będzie milusio z jej strony prosić Swanna o pokazanie jej wszystkich tych wielkich mistrzów zakonu, których medale znalazł na Rodos. Bo ja mówiłem panu: Malta, a to jest Rodos; ale to jest ten sam Zakon Świętego Jana z Jerozolimy<sup>913</sup>. W gruncie rzeczy, ona się tym interesuje jedynie dlatego, że Swann się tym zajmuje. Nasza rodzina jest bardzo wmieszana w całą tę historię; nawet dziś jeszcze mój brat, którego pan zna, jest jednym z najwyższych dygnitarzy zakonu maltańskiego. Ale gdybym ja mówił o tym wszystkim Orianie, nawet by mnie nie słuchała. W zamian za to wystarczyło, aby poszukiwania Swanna co do templariuszy<sup>914</sup> (niesłychana jest ta pasja ludzi jednej religii do studiowania religii drugich!) zawiodły go do historii kawalerów rodyjskich, spadkobierców templariuszy, a już Oriana z punktu ciekawa jest gąb tych kawalerów! To byli bardzo mali chłoptasie obok takich Lusignanów, królów Cypru, od których my pochodzimy w prostej linii. Ale jak dotąd, Swann się nimi nie zajmował; toteż Oriana nie chce nic wiedzieć o Lusignanach.

Nie mogłem od razu powiedzieć księciu, po co przyszedłem. Kilka krewniaczek lub przyjaciółek, jak księżna Sylistrii<sup>915</sup> i księżna de Montrose<sup>916</sup>, zaszło z wizytą do pani de Guermantes, która często przyjmowała przed obiadem, a nie zastawszy jej, wstąpiły na chwilę do księcia. Pierwsza z tych dam (księżna Sylistrii), ubrana z wielką prostotą, sucha, ale z miną dość uprzejmą, trzymała w ręce laskę. Bałem się zrazu, czy nie jest ranna lub kaleka. Przeciwnie, była bardzo zwinna. Ze smutkiem mówiła księciu o jakimś jego bliskim kuzynie — nie od strony Guermantów, ale jeszcze świetniejszym, o ile to było możliwe — którego zdrowie, bardzo zagrożone od pewnego czasu, pogorszyło się nagle. Ale widoczne było, iż książę, współczując z losem swego krewniaka i powtarzając: „Biedny Mama! To taki dobry chłopiec”, skłania się ku optymistycznej diagnozie. W istocie, obiad, na który się książę wybierał, bawił go; wielki wieczór u księżnej Marii nie nudził go również; ale zwłaszcza o pierwszej w nocy miał z żoną iść na wielką kolację i na bal kostiumowy: kostiumy Ludwika XI dla księcia, a Izabeli Bawarskiej<sup>917</sup> dla księżnej były już gotowe. I książę nie miał ochoty, aby cierpienie dobrego Amaniana d’Osmond zmąciło mu te wszystkie fety.

Dwie inne damy z laską, pani de Plassac i pani de Tresmes, obie córki hrabiego de Bréquigny, zaszły następnie do Błażeja i oświadczyły, że stan kuzyna nie zostawia już żadnej nadziei. Wzruszywszy ramionami i chcąc odmienić rozmowę, książę spytał ich, czy idą wieczór do księżnej Marii. Odpowiedziały, że nie, z powodu Amaniana, który jest konający; odprosiły się nawet z obiadu, na który szedł książę i którego uczestników wliczyły mu: brat króla Teodozjusza, infantka Maria Annunziata itd. Ponieważ margrabia d’Osmond był ich krewnym w dalszym stopniu niż Błażeja, abstynencja ich wydała się księciu pośrednią krytyką jego postępowania i nie był dla nich zbyt miły. Toteż mimo

<sup>913</sup>Zakon Św. Jana z Jerozolimy — pot. joannici, szpitalnicy a. kawalerowie maltańscy: zakon rycerski założony w XII w., pierwotnie zajmujący się strzeżeniem bezpieczeństwa wewnętrznego w Królestwie Jerozolimskim. Po upadku Królestwa w 1291 zakon przeniósł się razem z templariuszami na Cypr; w 1309 zajęli wyspę Rodos (odtąd zwani Kawalerami Rodyjskimi). Po likwidacji zakonu templariuszy w 1317 papież przekazał joannitom większość ich dóbr i ziem. W 1522 Rodos została zdobyta przez Imperium Osmańskie, w 1530 cesarz Karol V roku pozwolił Kawalerom Rodyjskim osiedlić się na Malcie, gdzie przyjęli używaną do dziś nazwę Kawalerów Maltańskich. W 1798 Maltę zajęła flota Napoleona; po upadku Napoleona odzyskali część posiadłości, ale trudności finansowe zmusiły zakon do ich porzucenia i przeniesienia siedziby do Rzymu. Funkcjonują jako instytucja dobroczynna, opiekująca się chorymi i rannymi. [przypis edytorski]

<sup>914</sup>templariusze — zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie w celu obrony i eskorty pielgrzymów do Ziemi Świętej. Posiadali kilkanaście prowincji w Europie, dzięki licznym nadaniom, przywilejom papieskim i operacjom finansowym zgromadzili wielkie bogactwa, dzięki którym mieli znaczące wpływy polityczne. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego, pozbawieni siedziby templariusze przenieśli się na Cypr, a następnie do Francji. Upadek zakonu spowodowały wysunięte przez króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu, oskarżenia o świętokradztwa, herezję i czary. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311, jej majątki skonfiskowano, a wielu templariuszy, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

<sup>915</sup>Sylistria — miasto w pln.-wsch. Bułgarii. [przypis edytorski]

<sup>916</sup>księżna Montrose — szkocki tytuł szlachecki; zapewne chodzi o Violet Hermione Graham (1854–1940), żonę Douglasa Grahama (1852–1925), księcia Montrose. [przypis edytorski]

<sup>917</sup>Izabela Bawarska (1371–1435) — żona króla Francji Karola VI Szalonego, od 1392 rządziła krajem w jego imieniu jako regentka. [przypis edytorski]

że zstąpiły z wyżyn pałacu Bréquigny, aby zobaczyć księżnę (lub raczej aby jej oznajmić niepokojący stan kuzyna, niedający się pogodzić ze światowymi uciechami), nie zostały długo. Uzbrojone w kije alpejskie, Walpurga i Dorota (takie były imiona dwóch sióstr) ruszyły stromą drogą na swoją górę. Nigdy nie przyszło mi na myśl spytać państwa de Guermentes, co oznaczały te laski, tak częste w pewnej koterii Faubourg Saint-Germain. Może uważając całą parafię za swoją dziedzinę, a nie lubiąc brać fiaków, damy te robiły dalekie kursy, w których jakieś dawne złamanie nogi, wynikłe z nadużycia polowań i z upadków z konia, lub po prostu reumatyzmy, pochodzące z wilgoci „lewego brzegu” i starych pałaców, zmuszały je do użytku laski. A może, nie zamierzając wyprawy tak dalekiej, zeszedłszy jedynie do ogrodu (niezbyt odległego od ogrodu księżnej Oriany), aby zerwać trochę owoców na kompot, zaszły powiedzieć dobranoc pani de Guermentes, nie przynosząc bądź co bądź z sobą sekatora ani polewaczki.

Księżę zdawał się wzruszony tym, że przybiegł do nich w sam dzień ich powrotu. Ale twarz jego zachmurzyła się, kiedy oznajmił, że przychodzę spytać księżnej, czy jej kuzynka naprawdę mnie zaprosiła. Dotknąłem jednej z usług, jakich państwo de Guermentes nie lubili oddawać. Księżę oświadczył, że jest za późno, że w razie gdyby księżna Maria nie przesłała mi zaproszenia, wyglądałoby, że się przymawia o nie; już raz (powiedział księżę) kuzynostwo odmówili mu tego; toteż nie chce w żadnej mierze, aby się wydawało, że on się miesza do listy ich gości, że się „wtrąca”; a wreszcie nie wie nawet, czy on i jego żona, mając proszony obiad, nie wrócą zaraz potem do siebie, w którym to wypadku, wobec pominięcia rautu księżnej Marii, najlepszą wymówką byłoby ukryć swój powrót do Paryża; gdyby nie to, niechybnie pospieszyłby wyjaśnić moją sprawę, pisząc do niej słówko lub telefonując, z pewnością zresztą za późno, bo najprawdopodobniej lista gości musi być już zamknięta.

— Nie zaszło nic między wami? — rzekł księżę z podejrzliwą miną, bo Guermentowie boją się zawsze i tego, aby nie być *au courant* ostatnich nieporozumień, i tego, aby ktoś nie szukał pojednania ich kosztem. Księżę miał zwyczaj brać na siebie wszystkie decyzje, które mogły mu się wydawać niezbyt przyjemne: — Wie pan co, drogi panie — rzekł nagle, jakby ta myśl przysłała mu niespodzianie do głowy — mam ochotę wcale nawet nie wspominać Orianie, że mi pan o tym mówił. Pan wie, jaka ona jest uprzejma; co więcej, ona pana niezmiernie lubi, chciałaby mimo wszystko, co bym jej mógł powiedzieć, pisać do kuzynki; tym samym, gdyby była zmęczona po obiedzie, nie będzie już wymówki, będzie musiała iść na raut. Nie, stanowczo, nie powiem jej nic. Zresztą zobaczy ją pan za chwilę. Ani słowa o tym, proszę. Jeżeli się pan zdecyduje iść na raut, nie potrzebuję mówić, jak nam będzie miło spędzić wieczór razem.

Względy ludzkości są nazbyt święte, aby ten, wobec którego się ich wzywa, nie skłonił się przed nimi — wierząc lub nie wierząc w ich szczerść; nie chciałem ani na chwilę robić wrażenia człowieka, który kładzie na szali swoje zaproszenie naprzeciw zmęczenia pani de Guermentes; przyrzekłem tedy nie wspomnieć księżnej o celu mojej wizyty, ściśle tak, jakbym wziął za dobrą monetę komedyjkę odegraną przez pana de Guermentes. Spytałem księcia, czy sądzi, iż mogę spotkać u księżnej Marii panią de Stermaria.

— Chyba nie — odparł z miną znawcy. — Znam nazwisko, które pan wymienia, bo widuję je czasem w rocznikach klubów; to nie jest zupełnie typ osób bywających u Gilberta. Spotka pan tam jedynie ludzi nadzwyczaj dystyngowanych i bardzo nudnych, jakieś tytuły, które się miało za wygastłe, a które wydobyto na tę okazję, wszystkich ambasadorów, dużo Koburgów<sup>918</sup>, zagraniczne altessy<sup>919</sup>, ale niech się pan nie spodziewa ani cienia Stermaria. Gilbert rozchorowałby się od samego takiego przypuszczenia! O, pan kocha malarstwo, muszę panu pokazać wspaniały obraz, który kupiłem od mego kuzyna, po części w drodze wymiany za Elstiry, których stanowczo nie lubimy. Sprzedano mi go jako Filipa de Champaigne<sup>920</sup>, ale ja sądzę, że to jest jeszcze coś więcej. Mam panu

<sup>918</sup>*Koburgowie* — boczna linia niemieckiej dynastii Wettynów, znana także jako dynastia sasko-koburska (od nazwy księstwa Saksonii-Coburg-Gotha). [przypis edytorski]

<sup>919</sup>*altessa* (neol.) — z fr.: *altesse*: wysokość, tytuł honorowy nadawany księżtom i księżnom. [przypis edytorski]

<sup>920</sup>*Champaigne, Philippe de* (1602–1674) — francuski malarz pochodzenia flamandzkiego; nadworny artysta Ludwika XIII i kardynała Richelieu. [przypis edytorski]

zdradzić moją myśl? Myślę, że to jest Velasquez, i to z najlepszej epoki — rzekł ksiązę, patrząc mi w oczy, czy aby poznać moje wrażenie, czy aby je wzmocnić.

Wszedł lokaj.

— Księżna pani każe spytać księcia pana, czy ksiązę zechce przyjąć pana Swann, bo księżna pani jest jeszcze niegotowa.

— Wprowadź pana Swann — rzekł ksiązę, spojrzawszy na zegarek i sprawdziwszy, że jeszcze ma kilka minut, zanim się pójdzie ubierać. — Oczywiście, żona, zamówiwszy go na tę godzinę, jest niegotowa! Nie ma potrzeby mówić przy Swannie o tym wieczorze u Marii Gilbertowej — rzekł ksiązę. — Nie wiem, czy on jest zaproszony. Gilbert bardzo go lubi, bo myśli, że on jest naturalnym wnukiem księcia de Berry, to cała historia! (Inaczej, niech pan pomyśli! Mój kuzyn dostaje ataku, kiedy widzi Żyda o sto kroków!) Ale teraz to się komplikuje sprawą Dreyfusa, Swann mógłby chyba zrozumieć, że bardziej niż ktokolwiek powinien by przeciąć wszystkie kontakty z tymi ludźmi; otóż wręcz przeciwnie, on wygaduje niesłychane rzeczy.

Ksiązę przywołał lokaja, aby się dowiedzieć, czy służący, którego posłano do kuzyrna d'Osmond, wrócił. Plan księcia był następujący: ponieważ słusznie uważał kuzyrna za umierającego, zależało mu na tym, aby mieć o nim nowiny przed śmiercią, to znaczy przed przymusową żałobą. Raz będąc kryty oficjalną pewnością, że Amanian jeszcze żyje, ksiązę drapnąłby na swój obiad, na raut księżnej Marii i na redutę, gdzie wystąpiłby w kostiumie Ludwika XI<sup>221</sup> i gdzie miał bardzo pikantną schadzkę z nową kochanką. A po nowiny posłałby dopiero nazajutrz, kiedy już fety byłyby skończone. Wówczas wdziałoby się żałobę, o ile by chory umarł.

— Nie, proszę księcia pana, nie wrócił jeszcze.

— Kroćset diabłów, robi się tutaj wszystko na ostatni moment — rzekł ksiązę na myśl, że Amanian może mieć czas klapnąć przed wieczornym dziennikiem i zepsuć mu redutę. Kazał podać sobie „Temps”<sup>222</sup>, gdzie nie było nic.

Nie widziałem Swanna od bardzo dawna; zastanawiałem się chwilę, czy on dawniej strzygł wąsy, czy nie nosił włosów „na jeża”, bo wydawał mi się czymś zmieniony; po prostu był bardzo „zmieniony”, bo był bardzo chory, a choroba sprowadza w twarzy zmiany równie głębokie co zapuszczenie brody lub zmiana uczesania. (Swann cierpiał na chorobę, która zabiła jego matkę, a wystąpiła u niej właśnie w wieku, w którym on był obecnie. Nasze egzystencje są w istocie, wskutek dziedziczności, równie pełne kabalistycznych cyfr, rzuconych uroków, co gdyby istniały naprawdę czarownice, i tak jak jest pewne trwanie życia ludzkiego w ogóle, jest również pewne jego trwanie dla poszczególnych rodzin, to znaczy dla tych członków rodziny, którzy są do siebie podobni).

Swann był ubrany z elegancją, która, jak elegancja jego żony, kojarzyła to, czym był teraz, z tym, czym był dawniej. W obcisłym perłowszarym tużurku uwydatniającym jego wysoką postać, smukły, w białych rękawiczkach z czarnymi prążkami, nosił ów szary cylinder rozszerzający się u góry, jaki Delion robił już tylko dla niego, dla księcia de Sagan<sup>223</sup>, dla pana de Charlus, dla margrabiego Modeny, dla Karola Haas<sup>224</sup> i dla hrabiego Ludwika de Turenne<sup>225</sup>. Zdziwił mnie jego przemiły uśmiech i serdeczny uścisk dłoni, jakim Swann odpowiedział na mój ukłon, bo sądziłem, że po tak długim czasie nie pozna mnie od razu; wyraziłem mu swoje zdziwienie; przyjął je z wybuchem śmiechu, z lekkim oburzeniem i z nowym uściskiem dłoni, tak jakbym, przypuszczając, że on mnie nie poznaje, kwestionował solidność jego mózgu lub szczerść jego uczuć. A jednak tak było: zidentyfikował mnie (dowiedziałem się o tym znacznie później) dopiero w kilka minut potem, słysząc moje nazwisko. Ale żadna zmiana w jego twarzy, w jego słowach, w tym, co mówił do mnie, nie zdradziła odkrycia, na które naprowadziło go jakieś słówko pana de Guermantes — tak mistrzowskie było opanowanie Swanna w formach światowego życia. Wnosił w nie wreszcie tę samą swobodę manier oraz owo coś indywidualnego, nawet w sposobie ubierania się, jakie charakteryzują Guermantów. I tak, ukłon, jakim stary

<sup>221</sup>Ludwik XI (1423–1483) — król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudalów. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>„Temps” — paryski dziennik, wydawany w latach 1861–1942. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>ksiązę de Sagan — Bosen I de Talleyrand-Périgord (1832–1910), ksiązę żagański (1898–1906), znany paryski dandys. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Haas, Charles (1833–1902) — francuski salonowiec. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>Turenne d'Aynac, Gabriel Louis de (1843–1907) — francuski oficer i podróżnik. [przypis edytorski]

*clubman* powitał mnie (nie poznając), to nie był zimny i sztywny, czysto oficjalny ukłon światowca, ale ukłon pełen szczerzej uprzejmości, prawdziwego wdzięku, jaki rozwijała na przykład księżna de Guermantes (posuwając się aż do uśmiechnięcia się pierwsza, kiedy kogo spotkała, zanim ów zdążył się jej ukłonić), w przeciwieństwie do mechanicznych ukłonów, właściwych damom Faubourg Saint-Germain. Tak samo kapelusz, który wedle ginącego już zwyczaju Swann postawił koło siebie na ziemi, miał (czego się nie robiło zazwyczaj) podszewkę z zielonej skóry, dlatego że to się (jak sam mówił) mniej wala, ale w istocie dlatego, że to było bardzo eleganckie (tego jednak nie mówił).

— Słuchaj, Karolu, ty, który jesteś wielki znawca, chodź coś obejrzyć; a potem, moje dzieci, poproszę was o pozwolenie zostawienia was tu na chwilę, gdy ja pójdę włożyć frak; sądzę zresztą, że Oriana zaraz przyjdzie.

I książkę pokazał Swannowi swego „Velasqueza”.

— Ależ mnie się zdaje, że ja to znam — rzekł Swann ze skrzywieniem ludzi cierpiących, dla których samo mówienie jest już zmęczeniem.

— Tak — rzekł książkę, zaniepokojony tym, że znawca ociąga się z wyrażeniem swego podziwu. — Widziałeś to zapewne u Gilberta.

— A, w istocie, przypominam sobie.

— Jak przypuszczasz, co to jest?

— Ba, skoro to było u Gilberta, to jest prawdopodobnie jeden z waszych *przodków* — rzekł Swann z mieszaniną ironii i szacunku wobec wielkości, którą uważałby za niegrzeczne i śmieszne lekceważyć, ale o której przez dobry smak nie chciał mówić inaczej niż żartem.

— Ależ oczywiście — rzekł szorstko książkę. — To Boson, nie wiem już który numer, de Guermantes. Ale takie rzeczy ja mam gdzieś. Wiesz, że ja nie jestem taki feudal jak mój kuzyn. Słyszałem, jak padały przed tym portretem takie słowa, jak: Rigaub<sup>926</sup>, Mignard<sup>927</sup>, nawet Velasquez — rzekł książkę, wlepiając w Swanna wzrok inkwizytora i kata, starając się wyczytać jego myśl i wpłynąć na odpowiedź. — Zresztą — zakończył książkę (kiedy bowiem doprowadził do tego, że wywołał sztucznie sąd, jakiego pragnął, umiał po paru chwilach uwierzyć, że ten sąd jest dobrowolny) — powiedz sam, bez pochlebstw. Czy sądzisz, że to jest jeden z tych wielkich mogółów, których wymieniłem?

— Nnnie — rzekł Swann.

— Ależ w takim razie... ostatecznie, ja się na tym nic nie rozumiem; nie moją rzeczą rozstrzygać, czyj jest ten knot. Ale ty, miłośnik, mistrz w tej materii, komu go przypisujesz?

Swann zawahał się chwilę przed tym płótnem, które mu się najwidoczniej wydawało okropne.

— Złośliwości ludzkiej! — odparł ze śmiechem księciu, który nie mógł powstrzymać odruchu wściekłości.

Uspokoiwszy się, książkę rzekł:

— Jesteście bardzo mili obaj, zaczekajcie chwilę na Oriane, ja się tylko wyfraczę i wracam. Powiem mojej połowicy, że wy tu czekacie na nią.

Rozmawiałem chwilę ze Swannem o sprawie Dreyfusa; spytałem, jak to się dzieje, że wszyscy Guermantowie są antydreyfusiści.

— Po pierwsze dlatego, że w gruncie wszyscy ci ludzie są antysemitami — odparł Swann, który wiedział przecie z doświadczenia, że nie wszyscy, ale który, jak wszelcy ludzie mający bardzo żarliwe przekonanie, woła dla wytłumaczenia, że niektóre osoby go nie dzielą, podsunąć im jakąkolwiek rację, przesąd, na który nie ma rady, raczej niż rację nadające się do dyskusji. Zresztą, doszedłszy przedwczesnego kresu życia, nienawidził tych prześladowań niby zmęczone, szczute zwierzę i skłaniał się do religii ojców.

— Co do księcia Gilberta — rzekłem — to prawda, mówiono mi, że on jest antysemitą.

— Och, o tym nawet nie mówię. Jest nim do tego stopnia, że kiedy był oficerem i szalenie go rozboleły zęby, wołał raczej cierpieć niż poradzić się jedyne dentysty w okolicy,

<sup>926</sup>Rigaub, *Hyacinthe* (1659–1743) — malarz francuski, portrecista Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>927</sup>Mignard — rodzina francuskich malarzy, słynnych w XVII w., należeli do niej Pierre (1610–1695), najbardziej znany dzięki płótnom i freskom o tematyce religijnej, jego brat Nicolas (1606–1668) i bratanek Pierre II (1640–1725). [przypis edytorski]

Żyda. Innym razem zniósł raczej, aby się spaliło całe skrzydło zamku, gdzie się wszczął ogień, niż żeby miał poprosić o sikawkę w sąsiednim zamku, należącym do Rotszyldów.

— Czy pan idzie może dziś wieczór do niego?

— Tak — odparł Swann — mimo że się czuję nieszczególnie. Ale uprzedził mnie, że ma mi coś do powiedzenia. Czuję, że będę zbyt cierpiący w tych dniach, aby iść do niego lub aby go przyjąć, to by mnie zanadto denerwowało, wolę pozbyć się teraz zaraz.

— Ale księżę Błażej nie jest antysemitą.

— Widzi pan, że tak, skoro jest antydreyfusistą — odparł Swann, nie spostrzegając, że popełnia to, co się w logice nazywa *petitio principii*<sup>28</sup>. — Co nie przeszkadza, iż bardzo mi jest przykro, że m zawiódł tego człowieka... co ja mówię! Tego księcia, nie podziwiając jego rzekomego Mignarda czy już sam nie wiem czego.

— Ale przynajmniej — rzekłem, wracając do sprawy Dreyfusa — księżna Oriana jest niewątpliwie inteligentna.

— Tak, urocza jest. Moim zdaniem była jeszcze bardziej urocza, kiedy była księżną des Laumes. Intelkt jej nabrał czegoś bardziej kanciastego, wszystko to było miększe w młodziutkiej wielkiej damie. Ale wreszcie, młodzi czy mniej młodzi, mężczyźni czy kobiety, cóż pan chce, wszyscy ci ludzie są z innej rasy, nie można mieć bezkarnie tysięcy lat feudalizmu we krwi. Oczywiście, oni uważają, że to nie gra żadnej roli w ich przekonaniach.

— Ale Robert de Saint-Loup jest przecież dreyfusistą.

— Och, tym lepiej; zwłaszcza że pan wie, matka jego jest bardzo *przeciw*. Mówiono mi, że on jest *za*, ale nie byłem pewny. To mnie bardzo cieszy. Nie dziwi mnie to, on jest bardzo inteligentny. To jest dużo.

Dreyfusizm zrobił Swanna zadziwiająco naiwnym i oddział na jego psychikę jeszcze znamiennej niż niegdyś małżeństwo z Odetą; to nowe zdeklasowanie (które można by raczej nazwać powrotem do swojej klasy) było dlań jedynie zaszczytne, skoro go wracało na drogę, którą szli jego bliscy i z której wykoleiły go arystokratyczne stosunki. Ale Swann, właśnie w chwili gdy on, tak jasnowidzący, mógłby dzięki danym odziedziczonym po przodkach widzieć prawdę jeszcze ukrytą światowcom, okazywał się mimo to komicznie zaślepiony. Wszystkie swoje podziwy i wzgardy poddawał próbie nowego kryterium — dreyfusizmu. To, że antydreyfusizm pani Bontemps kazał mu ją uznać za głupią, nie było dziwniejsze niż to, że kiedy się ożenił, odkrył w niej inteligencję. Nie było również bardzo poważne to, że nowa fala dosięgnęła w nim również sądów politycznych, każąc mu zapomnieć, że traktował swego czasu jako człowieka sprzedajnego, angielskiego szpiega (była to niedorzeczność kół Guermantów), tego samego Clemenceau, którego — jak oświadczał teraz — zawsze jakoby uważał za wielkie sumienie, za człowieka że stali, jak Cornély<sup>29</sup>. „Nie, nigdy nie mówiłem inaczej. Pomyliło się panu”. Ale przekraczając sądy polityczne, fala obalała w Swanna sądy literackie i nawet sposób wyrażania ich. Barrés<sup>30</sup> postradał wszelki talent: nawet utwory z czasu jego młodości były słabe, ledwie czytelne. „Próbuj pan, nie doczyta pan do końca. Co za różnica z takim Clemenceau! Osobiście, ja nie jestem antyklerykałem, ale jakże się czuje przy nim, że Barrés nie ma kręgosłupa! To bardzo wielki pan ten Clemenceau. Co za język!”

Zresztą, antydreyfusiści nie mieliby prawa krytykować tych aberracji. Oni znowuż tłumaczyli, że ktoś jest dreyfusistą dlatego, że jest z pochodzenia Żydem. Jeżeli praktykujący katolik, jak Saniette, również był za rewizją procesu, to dlatego (mówiono), że jest na garnuszku u pani Verdurin, która stała się dziką radykałką. Ona była przede wszystkim przeciw „klechom”. Saniette jest bardziej głupi niż zły i nie wie, ile mu krzywdy wyrządza „pryncypałka”. A kiedy ktoś podnosił, że Brichot, też przyjaciel pani Verdurin, jest członkiem Patrie Française, to dlatego (odpowiadano), że jest inteligentniejszy.

— Czy go pan widuje czasem? — rzekłem do Swanna, mówiąc o Robercie de Saint-Loup.

<sup>28</sup>*petitio principii* (łac.) — błąd logiczny uzasadnienia, polegający na użyciu tezy, której należy dowieść, jako przesłanki dowodu. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Cornély, Jules (1845–1907) — francuski dziennikarz. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Barrés, Maurice (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

— Nie, nigdy. Napisał do mnie kiedyś, żebym poprosił księcia de Mouchy<sup>931</sup> i paru innych, aby głosowali za nim w „Jockeyu”, gdzie przeszedł zresztą śpiewająco.

— Mimo Dreyfusa!

— Nie podnoszono tej kwestii. Zresztą, powiem panu, że od czasu tego wszystkiego nie pokazuję się w tej budzie.

Wszedł pan de Guermantes, a niebawem jego żona, już gotowa, wysoka i wspaniała, w czerwonej atlasowej sukni wyszytej pajetkami. Miała we włosach wielkie purpurowe pióro strusie, a na ramionach tiulową szarfę tegoż koloru.

— Jakie to ładne, ta zielona podszewka w kapeluszu — rzekła księżna, której oku nic nie uchodziło. — Zresztą u Lola wszystko jest ładne, zarówno to, co nosi, jak to, co mówi, co czyta i co robi.

Tymczasem Swann, jak gdyby nie słysząc, patrzył na księżnę tak, jakby patrzył na płótno mistrza; po czym poszukał jej spojrzenia, czyniąc ustami ruch mający znaczyć: „Psiakość!”. Pani de Guermantes parsknęła śmiechem.

— Moja toaleta podoba się panu, uszczęśliwiona jestem. Ale ja muszę powiedzieć, że mnie się ona nie bardzo podoba — ciągnęła z nachmurzoną minką. — Mój Boże, jakie to nudne: ubierać się, iść między ludzi, kiedy by się tak lubiło zostać w domu.

— Co za wspaniałe rubiny!

— Mój drogi Lolo! Widać przynajmniej, że pan się zna na tym, nie jest pan jak to zwierzę Monserfeuil, który się spytał, czy są prawdziwe! Muszę przyznać, że nie widziałam nigdy równie pięknych. To prezent od wielkiej księżnej. Na mój gust są trochę za duże, trochę przypominają pełny po brzegi kieliszek bordo, ale włożyłam je, bo spotkamy dziś wieczór wielką księżnę u Marii Gilbertowej — dodała pani de Guermantes, nie domyślając się, że te słowa obalały twierdzenie jej męża.

— Co tam jest u księżnej Marii? — spytał Swann.

— Prawie nic — pospiesznie odpowiedział książę, którego pytanie Swanna utwierdziło w mniemaniu, że Swann nie jest proszony.

— Ależ, Błażeju, co ty mówisz! Rozesłano wici na wszystkie strony, będzie tłum taki, że się będą zabijali. Co będzie ładne — mówiła, patrząc na Swanna z subtelną minką — o ile nie wybuchnie burza, która wisi w powietrzu, to te cudowne ogrody. Pan je zna. Byłam tam miesiąc temu, w chwili kiedy bzy już kwitły; niepodobna wyobrazić sobie, jakie to było piękne. A przy tym ten wodotrysk to naprawdę Wersal w Paryżu.

— Co to za rodzaj kobiety, księżna Gilbertowa? — spytałem.

— Ależ wie pan już, skoro pan ją widział tutaj, że jest piękna jak dzień, że jest także trochę idiotka, bardzo miła, mimo całej swojej germańskiej dumy, pełna serca i gaf.

Swann był zbyt sprytny, aby nie widzieć, że pani de Guermantes stara się w tej chwili robić *esprit* Guermantes, i to tanim kosztem, bo odgrzewała jedynie, w mniej doskonałej formie, swoje stare słówka. Mimo to, aby dowieść księżnej, że rozumie jej chęć okazania się dowcipną, i tak jakby nią była w tej chwili istotnie, uśmiechnął się nieco wymuszenie, powodując we mnie owym swoistym rodzajem nieszczerości to samo zażenowanie, jakiego doznawałem niegdyś, słysząc rodziców mówiących z panem Vinteuil o zepsuciu pewnych kół (podczas gdy wiedzieli dobrze, iż zepsucie panujące u niego w Montjouvain jest znacznie większe) lub Legrandina wysilającego się dla głupców, dobierającego subtelnych epitetów, o których doskonale wiedział, że nie może ich zrozumieć publiczność bogata lub elegancka, ale ciemna.

— Ej, Oriano, co ty opowiadasz — rzekł pan de Guermantes. — Maria głupia? Ona wszystko czytała, jest muzykalna jak skrzypce.

— Ależ, mój drogi mali Błażejku, ty jesteś jak nowo narodzone dziecko! Jakby nie można było łączyć tego wszystkiego i być trochę idiotką. Idiotka to zresztą przesadzone; nie, ona jest mgławicowa, ona jest Hesse-Darmstadt<sup>932</sup>, Cesarstwo Rzymskie i „och, och, och”! Już sama jej wymowa denerwuje mnie. Ale uznaję zresztą, że to jest urocza wariatka. Zresztą sama ta myśl, aby zstąpić ze swego niemieckiego tronu i wydać się po

<sup>931</sup>Noaille, Antoine de (1841–1909) — francuski arystokrata, książę Mouchy, polityk. [przypis edytorski]

<sup>932</sup>Hesse-Darmstadt — Hesja-Darmstadt, dawne niewielkie państwo niemieckie ze stolicą w mieście Darmstadt; powstałe w 1567 wskutek podziału Hesji pomiędzy synów Filipa Wielkodusznego, wchodziło w skład Świętego Cesarstwa Rzymskiego; po likwidacji Cesarstwa w 1806 przekształcone w Wielkie Księstwo Hesji, w 1871 stało się częścią Cesarstwa Niemieckiego. [przypis edytorski]

mieszczkańsku za prywatnego człowieka! To prawda, że go sobie dobrała! A prawda — rzekła, zwracając się do mnie — pan nie zna Gilberta. Dam panu o nim pojęcie: swojego czasu rozchorował się i położył do łóżka, dlatego że ja rzuciłam bilet pani Carnot<sup>933</sup>... Ale, mój drogi Lolo — rzekła księżna, aby zmienić rozmowę, widząc, że historia biletu rzuconego pani Carnot wyraźnie drażni pana de Guermantes — wie pan, że mi pan nie przysłał fotografii naszych kawalerów rodyjskich, których kocham dla pana i z którymi tak chciałabym zawrzeć znajomość.

Ale książę nie przestawał się wpatrywać bystro w żonę.

— Oriano — rzekł — trzeba przynajmniej opowiadać prawdę i nie lykac jej połowę. Trzeba powiedzieć — sprostował, zwracając się do Swanna — że ówczesna ambasadorowa angielska (niezła kobieta, ale trochę pomyłona i specjalistka od takich gaf) wpadła na dość dziki concept, aby nas zaprosić z prezydentem Republiki i jego żoną. Byliśmy (nawet Oriana) trochę zdziwieni, zwłaszcza że ambasadorowa dosyć miała z nami wspólnych znajomych, aby nas nie zapraszać właśnie na tak dziwne zebranie. Był tam jeden minister, który coś ukradł, wreszcie nie mówmy o tym, nie byliśmy uprzedzeni, wpadliśmy jak w pułapkę; trzeba zresztą uznać, że wszyscy ci ludzie byli bardzo grzeczni. Ale to już było zupełnie dosyć. Oriana, która nieczęsto robi mi ten zaszczyt, aby zasięgać mojej rady, uznała, iż powinna w ciągu tygodnia rzucić bilet w Pałacu Elizejskim<sup>934</sup>. Gilbert posunął się może za daleko, widząc w tym plamę na nazwisku. Ale nie trzeba zapominać, że, poza wszelką polityką, pan Carnot<sup>935</sup>, który zresztą wywiązywał się bardzo przyzwoicie ze swoich obowiązków, był wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, który w ciągu jednego dnia posłał na śmierć jedenastu naszych.

— W takim razie, Błażeju, czemuś jeździł co tydzień na obiad do Chantilly? Książę d'Aumale był zupełnie tak samo wnukiem członka trybunału rewolucyjnego, z tą różnicą, że Carnot był zacny człowiek, a Filip Egalité<sup>936</sup> obrzydliwa kanalia.

— Przepraszam, że przerywam księżnej, ale chcę powiedzieć, że ja przysłałem fotografię — rzekł Swann. — Nie rozumiem, że jej nie oddano.

— Mnie to mniej dziwi — rzekła księżna. — Moja służba mówi mi tylko to, co uważa za stosowne. Prawdopodobnie nie lubią Zakonu Świętego Jana.

Pani de Guermantes zadzwoniła.

— Wiesz, Oriano, że kiedyś jeździł na obiad do Chantilly, to bez entuzjazmu.

— Bez entuzjazmu, ale z nocną koszulą, na wypadek gdyby cię książę zatrzymał na noc, co zresztą robił rzadko, jako skończony cham, jak wszyscy Orleanowie... Czy wiesz, kogo dziś spotkamy na obiedzie u pani de Saint-Euverte? — spytała pani de Guermantes męża.

— Poza gośćmi, o których wiesz, zaproszono w ostatniej chwili brata króla Teodorzusza.

Na tę wiadomość rysy księżnej wyraziły radość, a słowa zdudzenie:

— Och, Boże, znowu ci króle!

— Ale ten jest miły i inteligentny — rzekł Swann.

— Tak zupełnie to nie — odparła księżna, robiąc wrażenie, że szuka słów, aby dać więcej oryginalności swojej myśli. — Czy pan zauważył, że najmilszy z królewskich wysokości mimo wszystko nie są całkiem mili? Ależ tak, zapewniam pana! Trzeba im zawsze mieć zdanie o wszystkim. A ponieważ nie mają żadnego, obracają pierwszą część swego życia na to, aby nas pytać o opinie, drugą, aby nas nimi częstować z powrotem. Muszą

<sup>933</sup> *pani Carnot* — Marie Pauline Cecile Dupont-White (1841–1898), żona prezydenta Francji, Sadi Carnota. [przypis edytorski]

<sup>934</sup> *Pałac Elizejski* — oficjalna siedziba prezydenta Francji, służąca również jako miejsce posiedzeń Rady Ministrów zbierającej się pod przewodnictwem prezydenta. [przypis edytorski]

<sup>935</sup> *Carnot, Marie François Sadi*, zwany *Sadi Carnot* (1837–1894) — francuski polityk, od 1881 przewodniczący umiarkowanej lewicy w parlamencie, od 1887 prezydent Francji; zginął zamordowany przez włoskiego anarchistę; był wnukiem Lazare Nicolasa Marguerite Carnota, inżyniera wojskowego i uczestnika rewolucji francuskiej, członka Komitetu Ocalenia Publicznego. [przypis edytorski]

<sup>936</sup> *Ludwik Filip II Orleański*, zw. *Philippe Egalité* (1747–1793) — książę Orleanu, polityk z czasów rewolucji francuskiej, kuzyn Ludwika XVI, ojciec króla Ludwika Filipa I; zwolennik rewolucji francuskiej, deputowany do Stanów Generalnych, członek Konstytuanty i Konwentu Narodowego; po obaleniu monarchii zrezygnował z tytułów i przyjął nazwisko *Égalité* (Równość); w styczniu 1793 głosował za wyrokiem śmierci dla Ludwika XVI; dwa miesiące później aresztowany razem z innymi Burbonami, oskarżony o zdradę i stracony. [przypis edytorski]



koniecznie mówić, że to a to było dobrze grane, a to mniej dobrze grane. Nie ma żadnej różnicy. Ot, ten smarkacz wice-Teodozjusz (nie przypominam sobie jego imienia) spytał mnie, jak się nazywa „motyw orkiestralny”. Odpowiedziałam mu — rzekła z błyszczącymi oczami i parszając śmiechem pięknymi czerwonymi wargami: — „Nazywa się: motyw orkiestralny”. I cóż! W gruncie nie był zadowolony. Och, mój drogi Lolo — ciągnęła omdlewająco pani de Guermantes — jakież to umie być nudne, te proszone obiady! Są wieczory, że wołaloby się umrzeć. Prawda, że umrzeć to jest może równie nudne, bo nie wiemy przecie, co to jest.

Zjawił się lokaj. Był to ów młody narzeczony, który miewał zatargi z odźwiernym, aż księżna w swojej dobroci zaprowadziła pozorny spokój.

— Czy mam iść dziś wieczór po wiadomości o panu margrabi d’Osmond? — spytał.

— Ależ nigdy w życiu, nie wcześniej aż jutro rano. Nie chcę nawet, abys był w domu dziś wieczór. Lokaj pana margrabiego, którego znasz, mógłby tutaj przyjść z wiadomością i żądać, żebyś poszedł nas szukać. Wyjdź z domu, idź, gdzie chcesz, ladaco, śpij poza domem, ale nie chcę tu ciebie wcześniej niż jutro rano.

Olbrzymia radość trysnęła z twarzy młodego lokaja. Będzie mógł wreszcie spędzić długie godziny ze swoją przyszłą, której prawie wcale nie mógł widywać, od czasu jak po nowej scenie z odźwiernym księżna wytłumaczyła mu przyjaźnie, że lepiej będzie, aby dla uniknięcia konfliktów w ogóle nie korzystał z wychodnego. Na myśl, że będzie miał wreszcie wolny wieczór, pływał w szczęściu, które księżna zauważyła i zrozumiała. Uczuła jakby ułucie w sercu i swędzenie całego ciała na widok tego szczęścia, którego ktoś kosztował bez jej wiedzy, kryjąc się przed nią, które drażniło ją i budziło jej zazdrość.

— Nie, Błażeju, przeciwnie, niech zostanie tutaj i nie rusza się z domu.

— Ależ, Oriano, to nie ma sensu, wszyscy twoi ludzie są w domu; prócz tego będziesz miała o północy krawcową i kostiumera na tę redutę. On nie zda się tu na nic, a ponieważ on jeden jest w przyjaźni z lokajem biednego Mama, tysiąc razy wolę wyprawić go daleko.

— Słuchaj, Błażeju, daj pokój; będę mu miała właśnie coś do polecenia w ciągu tego wieczora, ale nie wiem ściśle, o której godzinie. Nie ruszaj się, pamiętaj, ani na minutę — rzekła do zrozpaczonego lokaja.

Jeżeli były wciąż sprzeczki w domu i jeżeli służba na ogół nie trzymała się długo u księżnej, osoba, której trzeba przypisać tę stałą wojnę, była nie do ruszenia z miejsca; ale osobą tą nie był odźwierny. Bez wątpienia, do „grubszej roboty”, do kłopotliwszych szykan, do awantur, które się kończyły guzami, księżna posługiwała się tym narzędziem; odźwierny, odgrywając swoją rolę, nie podejrzewał zresztą, że mu ją nałożono. Jak cała służba, podziwiał dobroć księżnej; a niezbyt jasnowidzący lokaje, rzuciwszy swoje miejsce, często odwiedzali Franciszkę, powiadając, że dom księcia de Guermantes byłby najlepszy w Paryżu, gdyby nie odźwierny. Księżna posługiwała się nim tak, jak się wygrywało długie czas klerykalizm, masonerię, niebezpieczeństwo żydowskie itd... Wszedł lokaj.

— Czemu mi nie doręczono paczki, którą pan Swann przysłał? Ale słuchaj no (wiesz, Swann, że Mama jest bardzo chory), czy Julian, który poszedł do pana margrabiego d’Osmond po wiadomości, wrócił?

— Wrócił w tej chwili, proszę księcia pana. Oczekują z chwili na chwilę, że pan margrabia odda ducha.

— A, żyje! — wykrzyknął książę z westchnieniem ulgi. — Oczekują, oczekują, oczekują! Dopóki tli się życie, póty jest nadzieja — rzekł do nas książę z radosną miną. — Już mi go malowano umarłym i pogrzebionym. Za tydzień będzie zdrowszy ode mnie.

— To panowie lekarz powiedzieli, że pan margrabia nie przeżyje wieczoru. Jeden chciał wrócić w nocy, ale najstarszy doktor powiedział, że nie ma po co. Pan margrabia już by powinien nie żyć, przetrwał jedynie dzięki enenom<sup>937</sup> z kamforą.

— Cicho siedź, idioto! — wykrzyknął książę u szczytu wściekłości. — Kto się ciebie pyta o to wszystko? Nie zrozumiałeś nic z tego, co ci mówiono.

— To nie mnie, to Julianowi.

— Będziesz ty cicho! — ryknął książę. Po czym obracając się do Swanna: — Co to za szczęście, że on żyje. Odzyska pomału siły. Żyje po takim ataku! To już świetnie. Nie

<sup>937</sup> *enema* (med.) — lewatywa, płukanie jelita grubego. [przypis edytorski]

można żądać wszystkiego naraz. To nie musi być przykre taka mała lewatywka z kamforą — powiedział książę, zacierając ręce. — Żyje, żyje, czego chceć więcej! Po tym, co on przeszedł, to już wcale ładnie. Pozazdrościć takiej żywotności. Cha, cha! Ci chorzy, chodzi się koło nich, nie to co z nami. Dziś rano hultaj kucharz zrobił mi baranię z sosem *béarnaise*<sup>938</sup>, kapitalną, przyznaję, ale właśnie dlatego tyle zjadłem, że mi dotąd leży w żołądku. Co nie przeszkadza, że nikt nie przysyła dowiadywać się o moje zdrowie, jak o tego drogiego Amaniana. Znadto się o niego dowiadują. To go męczy. Trzeba mu dać wytchnąć. Zabija się tego człowieka, posyłając do niego co chwila.

— No i co — rzekła księżna do odchodzącego lokaja — prosiłam, żeby przyniesiono tę opakowaną fotografię, którą przysłał pan Swann.

— Proszę księżnej pani, to takie wielkie, że nie wiedziałem, czy to przejdzie przez drzwi. Zostawiliśmy w sieni. Czy księżna pani każe przynieść?

— Więc nie, powinniście mi byli powiedzieć; ale skoro to takie wielkie, obejrzę za chwilę, schodząc.

— Zapomniałem też powiedzieć księżnej pani, że pani hrabina Molé zostawiła dziś rano bilet dla księżnej pani.

— Jak to, rano? — rzekła księżna z wyrazem niezadowolenia, uważając, że tak młodej kobiecie nie przystało zostawiać biletów rano.

— Około dziesiątej, proszę księżnej pani.

— Pokażcie mi te bilety.

— W każdym razie, Oriano — podjął książę, wracając do poprzedniej rozmowy — kiedy mówisz, że Maria miała dziwny pomysł, wychodząc za Gilberta, to ty masz osobliwy sposób pisanie historii. Jeżeli kto był głupi w tym małżeństwie, to Gilbert, że zaślubił właśnie tak bliską krewną króla Belgów, który przywłaszczył sobie tytuł księcia Brabancji, należący do nas. Słowem, jesteśmy z tej samej krwi co Hesse, i ze starszej linii. To zawsze głupie mówić o sobie — rzekł zwracając się do mnie — ale fakt jest, że kiedyś byli nie tylko w Darmstadt, ale nawet w Kassel i w całym elektoracie heskim landgrafowie; bardzo uprzejmie spieszyli ustąpić nam pierwszego kroku i miejsca, jako pochodzącym ze starszej linii.

— Ależ ostatecznie, Błażeju, nie powiesz mi, że ta osoba, która była majorem wszystkich pułków swego kraju, którą zaręczano z królem szwedzkim...

— Och, Oriano, to już szczyt; rzekłby kto, że ty nie wiesz, iż dziadek króla szwedzkiego orał ziemię w Pau, kiedy my od dziewięciuset lat trzymaliśmy prym w całej Europie.

— To nie przeszkadza, że gdyby ktoś krzyknął na ulicy: „O, jedzie król szwedzki!”, wszyscy pognaliby go oglądać aż na plac Zgody, a kiedy kto powie: „O, pan de Guermantes”, nikt nie wie, kto to taki.

— Także racja!

— Zresztą nie mogę zrozumieć, w jaki sposób, z chwilą gdy tytuł księcia Brabancji przeszedł do królewskiej rodziny belgijskiej, możecie rościć do niego pretensje.

Lokaj wrócił z biletem hrabiny Molé lub raczej z tym, co zostawiła jako bilet. Powołując się na to, że nie ma biletu przy sobie, wyjęła z kieszeni list adresowany do siebie i zatrzymując list, zagięła kopertę mieszczącą nazwisko „Hrabina Molé”. Ponieważ koperta była dość duża, zgodnie z modnym tego roku formatem listowego papieru, ten ręcznie pisany „bilet” miał niemal podwójny rozmiar zwykłego biletu wizytowego.

— To nazywają „prostotą pani Molé” — rzekła z ironią księżna. — Chce w nas wmówić, że nie miała biletów, aby pokazać swoją oryginalność. Ale my znamy się na tym, prawda, Lolo, za starzy jesteśmy i za wielkie oryginały sami, aby się uczyć dowcipu od damulki bywającej od czterech lat. Uroczą jest, ale nie przypisuję jej na tyle autorytetu, aby sobie mogła wyobrażać, iż zdoła zadziwić świat równie tanim kosztem, zostawiając kopertę zamiast biletu wizytowego, i to o dziesiątej rano! Stara mysz pokaże małej myszce, że się umie zdobyć na to samo.

Swann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, myśląc, że księżna, trochę zresztą zazdrosna o sukcesy pani Molé, znajdzie w „dowcipie Guermantów” jakąś impertynencką odpowiedź na tę wizytę.

<sup>938</sup>*sos béarnaise* — sos bearneski, robiony na bazie sosu holenderskiego z dodatkiem estragonu i szalotki. [przypis edytorski]

— Co się tyczy tytułu księcia Brabancji, mówiłem ci sto razy Oriano... — podjął książę, któremu księżna przerwała w pół słowa, mówiąc do Swanna:

— Ale, mój drogi Lolo, ja tęsknię za pana fotografią.

— A! *Extincto draconis latrator Anubis*<sup>939</sup> — rzekł Swann.

— Tak, to ładne, co pan o tym powiedział, robiąc porównanie ze świętym Jerzym w Wenecji. Ale nie rozumiem, czemu „Anubis”.

— Jak wygląda ten, co jest przodkiem Babala? — spytał pan de Guermentes.

— Chciałbyś widzieć jego babalę — rzekła pani de Guermentes sucho, aby pokazać, że sama gardzi tym kalamburem. — Ja chciałabym ich zobaczyć wszystkich — dodała.

— Słuchaj, Karolu, zejdźmy, zanim powóz zajedzie — rzekł książę. — Złożysz nam wizytę w sieni, bo żona nie da nam spokoju, póki nie zobaczy twojej fotografii. Ja jestem, szczerze mówiąc, mniej niecierpliwy — dodał z zadowoloną miną. — Ja jestem człowiek spokojny, ale ona gotowa nas uśmiercić.

— Jestem zupełnie twojego zdania, Błażeju — rzekła księżna. — Chodźmy do sieni, będziemy przynajmniej wiedzieli, czemu schodzimy z twojego gabinetu na dół, podczas gdy nie dowiemy się nigdy, czemu pochodzimy od hrabiów Brabancji.

— Powtarzałem ci sto razy, w jaki sposób ten tytuł dostał się do domu heskiego — rzekł książę (podczas gdyśmy szli obejrzyć fotografię, a ja myślałem o fotografiach, które mi Swann przywoził do Combray) — w drodze małżeństwa pewnego Brabanta w 1241 z córką ostatniego landgrafa Turynii i Hesji; tak że to raczej tytuł księcia heskiego wszedł w dom brabancki niż tytuł księcia brabanckiego w dom heski. Przypominasz sobie zresztą, że naszym zawołaniem było zawołanie diuków Brabantu: „Limburg temu, kto go zdobył”, aż do czasu, kiedyśmy zmienili herb Brabantów na herb Guermantów, w czym, uważam, żeśmy popełnili błąd, a przykład Gramontów nie zmieni mojego zdania...

— Ależ — odparła pani de Guermentes — skoro zdobył go król Belgów... Zresztą, belgijski następca tronu nazywa się księciem brabanckim.

— Ależ, kochanie, to, co mówisz, nie trzyma się kupy, fałszywe jest od podstaw. Wiesz równie dobrze jak ja, że istnieją tytuły pretendentów, które obowiązują nadal, jeżeli terytorium zajęte jest przez uzurpatora. Na przykład król hiszpański mieni się również księciem Brabancji, stwierdzając przez to stan posiadania mniej dawny od naszego, ale dawniejszy niż posiadanie króla Belgów. Nazywa się także księciem Burgundii, królem Indii Zachodnich i Wschodnich, księciem Mediolanu. Otóż nie posiada już Burgundii, Indii ani Brabancji, tak jak ani ja, ani książę heski nie posiadamy Brabancji. Król hiszpański mieni się mimo to królem Jerozolimy, cesarz Austrii również, a ani jeden, ani drugi nie ma Jerozolimy.

Książę przerwał na chwilę, zmieszany tym, że nazwa Jerozolimy mogła zakłopotać Swanna z przyczyny „spraw aktualnych”, ale ciągnął tym szybciej:

— To, co mówisz w tym wypadku, mogłabyś powiedzieć o wszystkim. Byliśmy książętami d’Aumale, które to księstwo przeszło równie prawidłowo do domu francuskiego jak Joinville i jak Chevreuse do domu d’Albert. Nie zgłaszamy rewindykacji co do tych tytułów jak co do tytułu margrabiego de Noirmoutiers, który był nasz i który przypadł całkiem prawidłowo domowi de La Trémoille; ale z tego, że niektóre cesje są ważne, nie wynika, aby ważne były wszystkie! Na przykład — rzekł książę, zwracając się do mnie — syn mojej szwagierki nosi tytuł księcia d’Agrigente, który my mamy po Joannie Szalonej<sup>940</sup>, jak La Trémoille tytuł księcia Tarentu. Otóż Napoleon dał ten tytuł księcia

<sup>939</sup>*Extincto draconis latrator Anubis* (łac.) — Zabójca smoka, ujadającego Anubisa; Swann łączy tu dwa nawiązania: do św. Jerzego, zabójcy smoka, którego wizerunki widnieją na obrazach Carpaccia we wnętrzu budynku Scuola di San Giorgio degli Schiavoni w Wenecji, oraz do określenia z *Eneidy* Wergiliusza (VIII 698): *omnigenumque deum monstra et latrator Anubis / contra Neptunum et Venerem contraque Minervam / tela tenent* (Przeróżnych bogów larwy i szczekacz zuchwały Anub w Neptuna, Wenus i Minerwę strzaly miecą; tłum. Tadeusz Karyłowski). Anubis to egipski bóg świata zmarłych, przedstawiany z głową szakala. Najprawdopodobniej Swann przywołuje tutaj skojarzenie z lektury książki Johna Ruskina *St Mark’s Rest* (1884), w której określenie z Wergiliusza pojawia się jako tytuł rozdziału omawiającego ewolucyjną ciągłość starożytnych motywów smoka oraz zabójcy potworów w postaci św. Teodora Tyrona, pierwszego patrona Wenecji, jako zabójcy smoka, co przeniesiono później na św. Jerzego. [przypis edytorski]

<sup>940</sup>*Joanna Szalona* (1479–1555) — córka Izabeli I Katolickiej i Ferdynanda II Katolickiego, nominalna królowa Kastylii (od 1504) i Aragonii (od 1516); zdradzała objawy niezrównoważenia psychicznego; po śmierci jej męża, Filipa I Pięknego, księcia Burgundii z rodu Habsburgów, została odsunięta od władzy i uwięziona, rządy w jej imieniu sprawował ojciec, następnie syn. [przypis edytorski]

Tarentu żołnierzowi, który mógł być tęgim wiarusem, ale w danym przedmiocie cesarz rozrządził tym, co do niego należało, bardziej jeszcze niż Napoleon III, kreując księcia de Montmorency, bo Périgord miał bodaj matkę Montmorency, podczas gdy Tarent Napoleona I miał jedynie życzenie Napoleona, żeby był Tarentem. Co nie przeszkodziło, że Chaix d'Est-Ange, robiąc aluzję do twojego wuja Condé, spytał cesarskiego prokuratora, czy znalazł tytuł księcia de Montmorency w rowach Vincennes.

— Słuchaj, Błażeju, nie mam nic przeciw temu, aby wędrować za tobą do rowów Vincennes, a nawet do Tarentu. I w związku z tym, mój drogi Lolo, oto co chciałam panu powiedzieć, gdy mi pan mówił o swoim świętym Jerzym z Wenecji. Mamy właśnie zamiar z Błażem spędzić przyszłą wiosnę we Włoszech i na Sycylii. Gdyby się pan tak wybrał z nami, pomyśl, Lolo, co by to była za różnica! Nie mówię już o przyjemności takiego towarzystwa, ale niech pan sobie wyobrazi, z tym wszystkim, co mi pan nieraz opowiadał o pamiątkach podboju normandzkiego i o pamiątkach starożytności, niech pan sobie wyobrazi, czym by się stała taka podróż odbyta z panem! Myślę, że nawet Błażej, co ja mówię, nawet Gilbert, skorzystaliby na tym, bo czuję, że zgoła pretensje do korony Neapolu i wszystkie te historie zainteresowałyby mnie, gdyby mi je pan tłumaczył w starych kościołach romańskich albo w miasteczkach wiszących u skały, jak na obrazach prymitywów. Ale musimy obejrzeć pańską fotografię. Rozwińcie — rzekła księżna do lokaja.

— Ależ, Oriano, nie dziś! Obejrzysz to jutro — błagał książe, który dawał mi już znaki przerażenia, widząc ogrom fotografii.

— Ale mnie bawi oglądać to z Lolem — rzekła księżna z uśmiechem zarazem sztucznie pożądlivym i sprytnie psychologicznym, bo pragnąc być miłą dla Swanna, mówiła o rozkoszy oglądania tej fotografii niby o przyjemności, z jaką chory zjadłby pomarańczę, lub tak jakby równocześnie układała eskapadę z przyjaciółmi i objaśniała biografa o swoich przynoszących jej zaszczyt gustach.

— No więc Swann przyjdzie do ciebie specjalnie — oświadczył książe, któremu żona wreszcie musiała ustąpić. — Spędzicie przed tym trzy godziny razem, jeżeli was to bawi — rzekł ironicznie. — Ale gdzie ty pomieścisz zabawkę tych rozmiarów?

— Ależ w sypialni; ja chcę to mieć przed oczami.

— A, tak, to doskonale: jeżeli w twojej sypialni, mam nadzieję nie ujrzeć tego nigdy — rzekł książe, nie uważając, że mimo woli odsłania niebacznie negatywny charakter swoich stosunków małżeńskich.

— Więc, proszę, odpakujesz to bardzo starannie — zaleciła pani de Guermantes służącemu (mnożyła upomnienia przez uprzejmość dla Swanna). — Staraj się nie zniszczyć koperty.

— Trzeba nam szanować nawet kopertę — rzekł do mnie książe, wznosząc ręce do nieba. — Ale wiesz, Swann — dodał — ja, który jestem tylko biednym, bardzo prozaicznym mężem, najbardziej w tym wszystkim podziwiam to, żeś ty mógł znaleźć kopertę podobnych rozmiarów. Gdzieś ty to wyszperał?

— To zakład fotograficzny; często miewa tego rodzaju wysyłki. Ale to chamy, bo widzę, że napisali tutaj po prostu „pani de Guermantes”, bez dodatków.

— Przebaczam im — rzekła z roztargnieniem księżna, po czym, uderzona nagle myślą, która ją rozweseliła, powściągnęła lekki uśmiech; ale wracając szybko do Swanna, spytała: — Więc co, nie mówi Lolo, czy pojedzie z nami do Włoch?

— Droga pani, sądzę, że to nie będzie możliwe.

— Ha, pani de Montmorency ma więcej szczęścia. Był pan z nią w Wenecji i Vicenzy. Powiedziała mi, że z panem widzi się to, czego by się nigdy nie widziało inaczej, o czym nikt nigdy nie mówił; że pan jej pokazał nawet wśród rzeczy znanych rzeczy niesłychane; że mogła w ten sposób zrozumieć szczegóły, koło których bez pana przeszłaby dwadzieścia razy, nie zauważywszy ich. Stanowczo, większe ma u pana łaski od nas... Weźmiesz tę ogromną kopertę z fotografii pana Swann — rzekła księżna do służącego — i złożysz ją, zagiętą, w moim imieniu, dziś o wpół do jedenastej wieczorem u pani hrabiny Molé.

Swann parsknął śmiechem.

— Chciałabym jednak wiedzieć — rzekła pani de Guermantes — w jaki sposób na dziesięć miesięcy naprzód może pan wiedzieć, że to będzie niemożliwe.

— Droga księżno, powiem pani, jeżeli pani na tym zależy, ale przede wszystkim widzi pani, że ja jestem bardzo chory.

— Tak, Lolo, uważam, że pan wcale niedobrze wygląda, nie jestem zadowolona z pańskiej cery; ale ja nie proszę pana o to za tydzień, proszę o to za dziesięć miesięcy. Przez dziesięć miesięcy ma się pan czas leczyć, wie pan.

W tej chwili lokaj przyszedł oznajmić, że powóz zajechał.

— No, Oriano, na koń — rzekł książę, który już od dobrej chwili parskał z niecierpliwości, tak jakby był sam jednym z koni, które czekały.

— No więc, w jednym słowie: przyczyna, która panu nie pozwoli pojechać do Włoch? — pytała księżna, wstając, aby się z nami pożegnać.

— Ależ, droga księżno, przyczyna ta, że wówczas od kilku miesięcy... nie będę żył. Zdaniem lekarzy, których radziłem się z końcem ubiegłego roku, choroba, na którą cierpię i która może zresztą zmieść mnie od razu, nie zostawia mi w każdym razie więcej niż trzy lub cztery miesiące życia, a jeszcze to jest maksimum — odparł Swann, uśmiechając się, podczas gdy lokaj otwierał szklane drzwi, aby przepuścić księżnę.

— Co mi pan opowiada! — wykrzyknęła księżna, zatrzymując się przez sekundę w drodze ku powozowi i podnosząc swoje piękne oczy, błękitne i melancholijne, ale pełne niepewności. Znalazłszy się po raz pierwszy w życiu między dwoma tak odmiennymi obowiązkami, jak wsiąść do karety, aby jechać na proszony obiad, a objawić współczucie człowiekowi, który ma umrzeć, nie znalazła w kodeksie światowym nic, co by jej wskazało właściwą drogę, i nie wiedząc, któremu z dwóch obowiązków ma dać pierwszeństwo, uznała za właściwe udać, że nie wierzy, aby druga alternatywa mogła istnieć, tak aby móc iść za pierwszą, wymagającą w tej chwili mniej wysiłku; po czym pomyślała, że najlepszym sposobem rozwiązania konfliktu jest zaprzeczyc mu.

— Żartuje pan — rzekła do Swanna.

— Byłby to żart w uroczym guście — odparł ironicznie Swann. — Nie wiem, po co to pani opowiadam, nie mówiłem pani o swojej chorobie dotąd. Ale ponieważ księżna mnie pytała, obecnie zaś mogę umrzeć lada dzień... Ale zwłaszcza nie chcę, aby się pani spóźniła, ma pani obiad — dodał Swann, ponieważ wiedział, że dla drugich własne ich światowe obowiązki więcej znaczą niż śmierć przyjaciela, i ponieważ wrodzona grzeczność kazała mu się postawić na ich miejscu. Ale księżnej znowuż grzeczność pozwalała mglisto spostrzec, że ten obiad, na który szła, musi dla Swanna mniej znaczyć niż własna jego śmierć. Toteż, wciąż posuwając się w stronę powozu, pochyliła plecy, mówiąc:

— Niech się pan nie troszczy o ten obiad. To nie ma żadnego znaczenia!

Ale te słowa wprawiły w zły humor księcia, który wykrzyknął:

— Słuchaj, Oriano, zamiast się tak rozgadywać i oddawać się jeremiadom<sup>941</sup> ze Swannem, pamiętaj, że pani de Saint-Euverte przestrzega tego, aby siadać do stołu punkt o ósmej. Trzebaż wiedzieć, czego ty chcesz; już dobrych pięć minut konie czekają. Przepraszam cię, Karolu — rzekł, obracając się do Swanna — ale jest już za dziesięć ósma. Oriana jest zawsze spóźniona, trzeba nam więcej niż pięć minut, aby dotrzeć do starej Saint-Euverte.

Pani de Guermentes skierowała się z determinacją do powozu, żegnając ostatni raz Swanna.

— Wie pan, pomówimy o tym jeszcze, nie wierzę ani słowa w to, co pan mówi; ale trzeba o tym pomówić. Przestraszono pana idiotycznie, niech pan przyjdzie na śniadanie w dniu, który pan sam oznaczy (dla pani de Guermentes wszystko streszczało się zawsze w śniadaniu) powie mi pan dzień i godzinę...

I podnosząc czerwoną spódnicę, postawiła nogę na stopniu. Miała wejść do karety, kiedy, widząc tę nogę, książę wykrzyknął straszliwym głosem:

— Oriano! Nieszczęsna, coś ty chciała zrobić! Nie zmieniłaś trzewików! Przy czerwonej sukni! Leć prędko włożyć czerwone pantofelki albo — rzekł do lokaja — ty powiedz prędko pokojowej księżnej pani, żeby tu zniosła czerwone pantofelki.

<sup>941</sup> jeremiada — narzekanie, biadanie; nazwa utworzona od imienia biblijnego proroka Jeremiasza, który wzywał do zmiany losów Izraela i przewidywania nieszczęść, jakie mogły stąd wynikać. [przypis edytorski]

— Ależ, mój drogi — odparła z cicha księżna, zażenowana tym, że Swann, który wychodził ze mną, ale chciał przepuścić powóz, może usłyszeć — skoro jesteśmy spóźnieni...

— Ależ nie, mamy masę czasu. Jest dopiero za dziesięć ósma, nie potrzeba dziesięciu minut na to, aby zjechać do parku Monceau. A przy tym, co chcesz, choćby miało być wpół do dziewiątej, poczekają; nie możesz przecie jechać w czerwonej sukni i w czarnych pantofelkach. Zresztą nie będziemy ostatni, nie bój się, mają być Sassenage'owie, wiesz, że nigdy nie zjawiają się przed trzema kwadransami na dziewiątą<sup>942</sup>.

Księżna pobiegła do swego pokoju.

— No i co — rzekł do nas pan de Guermantes — biedni mężowie, dosyć z nich sobie świat nakpi, ale mają zalety. Beze mnie Oriana poszłaby na obiad w czarnych pantofelkach.

— To nie jest brzydkie — rzekł Swann — zauważyłem czarne pantofelki i nic mnie nie raziły.

— Nie będę ci przeczył — odparł książę — ale zawsze to bardziej elegancko, aby były tego samego koloru co suknia. A przy tym, bądź spokojny: ledwo przyjechałaby na miejsce, spostrzegłaby się i wtedy ja musiałbym dyrdać po czerwone pantofelki. Jadłbym obiad o dziewiątej. Do widzenia, dzieci — rzekł, odpychając nas lekko — idźcie sobie, zanim Oriana zejdzie. Nie dlatego aby nie lubiła widzieć was obu. Przeciwnie, dlatego że was zanadto lubi. Jeżeli was jeszcze tu zastanie, znów zacznie gadać, jest już bardzo zmęczona, przyjedzie na obiad: trup. A wreszcie, przyznam się wam szczerze, że umieram z głodu. Jadłem śniadanie ot, na chybicka, na wysiadanym z pociągu. Był wprawdzie ten przekłety sos *bearnaise*, ale mimo to przyznam się, że nie gniewałbym się, ale to wcale a wcale, żeby już siąść do stołu. Za pięć ósma! Och, kobiety! Rozchorujemy się oboje na żołądek. Oriana jest o wiele mniej odporna, niżby ktoś przypuszczał.

Książę nie robił sobie najmniejszej ceremonii z tym, aby mówić o niedomaganiach żony i swoich własnych do umierającego; po prostu dlatego że go bardziej interesowały, wydawały mu się ważniejsze. Toteż jedynie przez dobre wychowanie i przez jowialność<sup>943</sup>, splawiwszy nas grzecznie, szeroko krzyknął stentorowym<sup>944</sup> głosem z drzwiczek karety do Swanna, który był już na dziedzińcu:

— A ty, Swann, nie daj sobie wmawiać głupstw lekarzom, u diaska! To są osły. Jesteś zdrów jak tur. Pochowasz nas wszystkich!

## Sodoma i Gomora

## Sodoma i Gomora

<sup>942</sup>trzy kwadrans na dziewiątą (daw.) — dziś: trzy kwadransy po ósmej, ósma czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

<sup>943</sup>jowialność — pogodne usposobienie, dobroduszość. [przypis edytorski]

<sup>944</sup>stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

# CZEŚĆ PIERWSZA

*Kobieta będzie miała Gomorę,  
a męczyzna Sodomę.*

*Alfred de Vigny*

## PIERWSZE ZJAWIENIE SIĘ MĘŻCZYZNO-KOBIET, POTOMKÓW TYCH MIESZKAŃCÓW SODOMY, KTÓRYCH OSZCZĘDZIŁ OGIEŃ NIEBIESKI

Wspomniałem, że znacznie wcześniej, niż udałem się owego dnia (dnia, w którym miał się odbyć wieczór u księżnej Marii) do księstwa Błajejów, którą to wizytę opowiedziałem przed chwilą, czatowałem na ich powrót i żem uczynił podczas swoich czatów odkrycie dotyczące specjalnie pana de Charlus, ale tak ważne samo w sobie, że dotąd odkładałem jego opis, aż do chwili kiedy mogę mu zapewnić dosyć miejsca i przestrzeni. Opuściłem, jak wspomniałem, cudowny i tak szczęśliwie obrany na szczycie domu punkt obserwacyjny, skąd oko obejmuje kapryśne stoki wiodące je aż do pałacu Bréquigny, z włoska wesoło strojne różową kampaniłą remizy margrabiego de Frécourt. Kiedym sądził, że księstwo Błajejowie już za chwilę będą wracali, uznałem za praktyczniejsze ulokować się na schodach. Żałowałem trochę swojego pobytu na wysokościach. Ale o tej porze — było już po śniadaniu — żal mój miał mniej racji, bo nie byłbym widział — jak widziałem rano — mikroskopijnych figurek, jakimi stawali się na odległość lokaje z pałacu Bréquigny, wstępujący powoli po stromym zboczu z piórkiem do okurzenia w ręce, między szerokimi przezroczystymi płatami miki, tak przyjemnie odcinającymi się na czerwonych blankach.

W braku pola do kontemplacji geologicznych przetrzymałem się na kontemplacji botanicznej; poprzez okiennice patrzyłem na drzewko księżnej i na jej szacowną roślinę, wystawiane na dziedzińcu z tą samą wytrzymałością, z jaką się oprowadza panny na wydaniu, i zadawałem sobie pytanie, czy nieprawdopodobny owad zjawi się opatrnościowym trafem, aby odwiedzić gotowy na jego przyjęcie samotny słupek. Ciekawość ośmielała mnie trochę; zeszedłem aż na parter, do okna również otwartego, z okiennicami zamkniętymi tylko do połowy. Słyszałem wyraźnie gotującego się do wyjścia Jupiena, który nie mógł mnie dojrzeć przez storę, za którą stałem nieruchomy. Naraz cofnąłem się gwałtownie z obawy, aby mnie nie zobaczył pan de Charlus, który, idąc do pani de Villeparisis, mijał wolno dziedziniec; z brzuszkami, postarzały w świetle dziennym, szpakowaty. Trzeba było niedyspozycji pani de Villeparisis (następstwo choroby margrabiego de Fierbois, z którym baron osobiście był śmiertelnie poróżniony), aby pan de Charlus — może pierwszy raz od czasu swego istnienia — zdecydował się na wizytę o tej godzinie. Właściwością Guermantów było, że zamiast się stosować do światowego życia zmieniali je wedle swoich osobistych nawyków (nie światowych, jak sądzili, tym samym godnych, aby im ustępowała owa rzecz bez znaczenia — światowość). Tak na przykład pani de Marsantes nie miała „dnia”, ale była co rano dla swoich przyjaciółek w domu od dziesiątej do południa; baron, zachowując ranek na lekturę, na szperanie po antykwariach itd., nie składał nigdy wizyt wcześniej niż między czwartą a szóstą po południu. O szóstej siedł do klubu albo na spacer do Lasku.

Po chwili cofnąłem się znowu, nie chcąc, aby mnie dojrzał Jupien; zbliżała się godzina jego biura, skąd wracał aż na obiad, i to nie zawsze, od tygodnia bowiem siostrzenica jego bawiła z pomocnicami gdzieś na wsi u klientki, aby skończyć jej suknię. Następnie, zdając sobie sprawę, że nikt mnie nie może widzieć, postanowiłem się już nie ruszać z obawy, aby nie przeoczyć — o ile cud miałby się zdarzyć — beznadziejnego prawie przybycia (poprzez tyle przeszkód, odległości, utrudnień, niebezpieczeństw) owada wysłanego z tak daleka w ambasadzie do dziewczycy od dawna wyczekującej nadaremnie.

Wiedziałem, że to wyczekiwanie nie jest całkowicie bierne, tak samo jak u męskiego kwiatu, którego pręciki obróciły się samorzutnie, iżby owad mógł łatwiej przyjąć ich pyłek; tak samo znajdujący się tutaj żeński kwiat, w razie gdyby owad przybył, wygiąłby

złotnie swoje słupki i, aby ów owad lepiej mógł weń wnikać, zrobiłby to nieznacznie — niby obłudna, lecz namiętna dziewczyna — pół drogi. Prawami świata roślinnego rządzi znów coraz wyższe prawa. Jeżeli wizyta owada, to znaczy przeniesienie pyłku z innego kwiatu, potrzebna jest zazwyczaj do zapłodnienia, to dlatego że samo zapłodnienie — zapłodnienie kwiatu przez siebie samego — spowodowałoby, niby małżeństwa powtarzane w jednej i tej samej rodzinie, degenerację i bezpłodność; krzyżowanie natomiast dokonywane przez owady daje następnym pokoleniom tego samego gatunku nieznaną ich poprzednikom żywotność. Ale ten rozmach może być nadmierny, gatunek może się rozwijać przesadnie; wówczas, jak antytoksyna broni przed chorobą, jak gruczoł tarczowy miarkuje naszą tuszę, jak kłęska karze dumę, zmęczenie rozkosz, sen zaś daje z kolei wypoczynek po zmęczeniu, tak wyjątkowy akt samozapłodnienia przychodzi we właściwym punkcie, aby uregulować, zahamować, wrócić do normy kwiat, który z niej za bardzo wyszedł.

Refleksje moje biegły po linii, którą opiszę później; z oczywistej chytrłości kwiatów wyciągnąłem już konsekwencje tyżące się nieświadomej partii literackiego dzieła. Naraz ujrzałem pana de Charlus wychodzącego od margrabiny. Upłynęło ledwie kilka chwil od jego wejścia. Może dowiedział się od sędziwej krewniaczki — lub tylko przez służącego — o polepszeniu lub raczej o zupełnym wyleczeniu tego, co było u pani de Villeparisis prostą niedyspozycją. W tej chwili pan de Charlus sądził, że nikt nań nie patrzy; mrużył oczy od blasku słońca, z twarzy jego znikło owo napięcie, ustąpiło sztuczne ożywienie, jakie podtrzymywała u barona podnieta rozmowy oraz wysiłek woli. Błady był jak marmur; nos miał bardzo wydatny, despotyzm spojrzenia nie dawał już jego delikatnym rysom wymowy psującej piękność ich rysunku; w tej chwili pan de Charlus był już tylko Guermantem, zdawał się już wyrzeźbiony — on, Palamed XV — w kaplicy Combray. Ale te typowe rysy rodzinne przybierały na twarzy pana de Charlus subtelność bardziej uduchowioną, łagodniejszą zwłaszcza. Żałowałem dla niego, że tę uprzejmość, słodycz, tak dobroduszenie rozkwitające na jego twarzy w chwili, gdy wychodził od pani de Villeparisis, baron kazi zazwyczaj taką gwałtownością, tyloma przykrymi dziwactwami, plotkarstwem, oschłością, podejrzliwością i arogancją, że je kryje pod sztuczną brutalnością. Mrugając oczami w słońcu, zdawał się niemal uśmiechać; na twarzy jego, oglądanej niejako w chwili spokoju i jak gdyby w naturalnej postaci, było coś tak serdecznego, bezbronnego, że nie mogłem się wstrzymać od myśli, jak wściekły byłby pan de Charlus, gdyby wiedział, że ktoś nań patrzy; bo ten człowiek tak rozkochany w męskości i tak się nią pyszniący, człowiek, któremu wszyscy wydawali się wstrętne zniewieściami, przypominał mi w tej chwili — tak dalece miał przelotnie jej rysy, wyraz, uśmiech — przypominał mi w tej chwili kobietę. Miałem się znów cofnąć, aby mnie baron nie spostrzegł; nie zdążyłem ani nie potrzebowałem tego uczynić. Bo cóż ujrzałem! Twarz w twarz, na tym dziedzińcu, gdzie się z pewnością nigdy nie spotkali (pan de Charlus przychodził do pałacu Guermantów jedynie po południu, w godzinach, gdy Jupien był w biurze), baron, otwarty nagle szeroko przymknięte oczy, spoglądał z nadzwyczajną uwagą na eks-krawca stojącego w progu sklepu, gdy ten, przygwożdżony nagle do miejsca widokiem pana de Charlus, wrosły w ziemię jak roślina, patrzył z zachwytem na brzuszek podstarzałego barona. Ale, rzecz jeszcze bardziej zdumiewająca, kiedy pan de Charlus zmienił pozę, zachowanie się Jupiena — jak gdyby zgodnie z prawidłami tajemnej sztuki — dostroiło się do niej natychmiast. Baron, który starał się teraz ukryć swoje wrażenie, ale który, mimo przybranej obojętności, oddalał się z widocznym żalem, chodził tam i z powrotem, puszczał wzrok w przestrzeń w sposób mający uwydatnić piękność jego oczu, przybierał minę złotną, niedbałą, śmieszłą. Otóż Jupien, natychmiast tracąc uniżony i pocziwy wyraz, jaki zawsze u niego znałem, podniósł — w doskonałej symetrii z baronem — głowę, wygiął zwycięsko talię, wsparł z pocieszną arogancją rękę na biodrze, wypinał siedzenie, dobierał pozy z złotnością godną orchidei wobec opatrznociowego bąka. Nie wiedziałem, że on może być tak antypatyczny! Ale nie posądzałem go także, aby był zdolny zaimprovizować swoją partię w tej niemo rozgrywanej się scenie, która (mimo że Jupien pierwszy raz znalazł się w obecności pana de Charlus) zdawała się od dawna wypróbowana; do takiej doskonałości dochodzi się samorzutnie jedynie wtedy, kiedy się spotka na obczyźnie krajana: wówczas porozumienie dokonywa się samo przez się, obaj znajdują wspólny język, mimo że się nigdy z sobą nie widzieli.



Scena ta nie była zresztą wprost komiczna; nacechowana była jakąś dziwnością lub, jeśli kto woli, naturalnością, której piękno wciąż rosło. Daremnie pan de Charlus przybierał obojętną minę, spuszczał od niechcenia powieki, chwilami podnosił je, kierując wówczas na Jupiena baczne spojrzenie. Sądził z pewnością, iż podobna scena nie powinna się zbyt przeciągać w tym miejscu, bądź z racji, które zrozumiemy później, bądź przez owo poczucie krótkości wszystkich rzeczy, które każe nam pragnąć, aby każda strzała trafiała do celu, i które czyni czymś tak wzruszającym grę wszelkiej miłości. Za każdym razem, kiedy pan de Charlus patrzył na Jupiena, starał się, aby jego spojrzeniu towarzyszyło słowo, co je czyniło czymś nieskończeniem odmiennym od spojrzeń, kierowanych zazwyczaj na osobę mało znajomą nam lub nieznaną. Patrzył na Jupiena ze znamienym uporem człowieka, który ma powiedzieć: „Daruję pan moją niedyskrecję, ale ma pan na plecach długi biały włos” albo: „Jeżeli się nie myłę, musi pan być także z Zurychu; zdaje mi się, że pana często spotykał u handlarza starożytności”. Podobnie, co dwie minuty, wzrok pana de Charlus zdawał się usilnie zadawać Jupienowi jedno i to samo pytanie, niby owe pytające frazy Beethovena, powtarzane bez końca w równych odstępach i mające — z przesadnym zbytkiem przygotowań — sprowadzić nowy motyw, zmianę tonacji, nawrót. Ale właśnie piękno spojrzeń pana de Charlus i Jupiena pochodziło stąd, że te spojrzenia — na razie przynajmniej — nie zdawały się do czegoś prowadzić. To piękno oglądałem pierwszy raz w osobach barona i Jupiena. W oczach jednego i drugiego wschodziło niebo nie Zurychu, ale jakiegoś wschodniego miasta, którego nazwy jeszcze nie odgadłem. Jaki bądź взгляд mógł wstrzymać pana de Charlus i eks-krawca, porozumienie ich zdawało się faktem, i te zbyteczne spojrzenia były już tylko rytualnymi niejako przegrywkami, podobnymi fetom, jakie się wydaje przed postanowionym małżeństwem. Zbliżając się jeszcze do natury — a mnogość tych porównań jest dość naturalna, ile że ten sam człowiek, jeżeli go obserwujemy przez kilka minut, wydaje się kolejno człowiekiem, człowiekiem-ptakiem lub człowiekiem-owadem itd. — rzekłoby się, dwa ptaki, samiec i samica: samiec starający się posuwać naprzód, samica — Jupien — nieodpowiadająca już żadnym znakom na ten manewr, lecz patrząca na swego nowego kochanka bez zdziwienia, z niedbałą bacznością, uznając z pewnością tę postawę za bardziej zalotną i jedynie celową, z chwilą gdy samiec uczynił pierwsze kroki i poprzestawał na gładzeniu swoich piór.

Wreszcie jednak obojętność przestała widocznie Jupienowi wystarczać; od pewności podboju do tego, aby się kazać gonić i pożądać, był tylko krok; decydując się iść do swoich zajęć, Jupien wyszedł za bramę. Bądź co bądź, odwrócił parę razy głowę, zanim wyszedł na ulicę, gdzie baron, drżąc, iż zgubi jego ślad, pomknął żywo, aby go dogonić. Idąc baron pogwizdywał z miną fanfaronu i krzyknął: „Do widzenia!” odźwiernemu, który, podpity i podejmując swoich gości w pokoiku za kuchnią, nawet nie usłyszał.

W tej samej chwili, w której pan de Charlus wypadł z bramy, pogwizdując niby duży bąk, drugi — ten prawdziwy — wleciał w dziedziniec. Kto wie, czy to nie ów tak długo oczekiwany przez orchideę owad przynosił jej rzadki pyłek, bez którego groziłoby jej wieczne dziewictwo.

Ale nie mogłem śledzić ruchów owada, bo po kilku minutach, bardziej absorbując moją uwagę, Jupien (może po to, aby wziąć paczkę, którą zabrał później, a której pod wpływem wzruszenia, w jakie go wprawił widok pana de Charlus, zapomniał; może po prostu z naturalniejszej przyczyny), Jupien wrócił, wiodąc za sobą barona. Ten, zdecydowany przyspieszyć bieg rzeczy, poprosił eks-krawca o ogień, ale natychmiast zauważył:

— Proszę pana o ogień, ale widzę, że zapomniałem cygar.

Prawo gościnności zwyciężyło reguły kokieterii.

— Niech pan wejdzie, otrzyma pan wszystko, czego pan zapagnie — rzekł krawiec, na którego twarzy wzgarda ustąpiła miejsca radości.

Drzwi sklepowe zamknęły się za nimi i nie mogłem już nic słyszeć. Straciłem z oczu bąka; nie dowiedziałem się, czy to był owad potrzebny orchidei, ale nie wątpiłem — co się tyczyło bardzo rzadkiego owada i uwięzionego kwiatu — o cudownej możliwości sparzenia się ich, skoro pan de Charlus (proste zestawienie opatrnościowych trafów różnego rodzaju i bez najmniejszej pretensji naukowej kojarzenia pewnych praw botaniki oraz tego, co czasem nazywają — bardzo źle — homoseksualizmem), który od lat przychodził do tego domu jedynie w nieobecności Jupiena, dziś, wskutek przypadkowej

niedyspozycji pani de Villeparisis, spotkał go, a wraz z nim szczęście chowane dla ludzi z rodzaju barona przez jedną z tych istot, które mogą być (ujrzymy to później) nieskończenie młodsze i piękniejsze od Jupiena, przez człowieka przeznaczonego na to, aby tamci mieli swoją czastkę rozkoszy na tej ziemi: mężczyznę lubiącego jedynie starszych panów.

To, com powiedział tutaj, miałem zrozumieć aż w kilka minut później, tak ściśle łączy się z rzeczywistością jej dar stania się niewidzialną, aż ją jakaś okoliczność odrze z tego daru. W każdym razie, w tej chwili byłem bardzo nierad, że już nie słyszę rozmowy eks-krawca z baronem. Naraz spostrzegłem ów sklep do wynajęcia, oddzielony od sklepu Jupiena jedynie cienkim przepierzeniem. Aby tam się dostać, trzeba mi było jedynie wrócić do naszego mieszkania, iść do kuchni, zejść schodami kuchennymi do piwnic, przejść piwnicami całą szerokość dziedzińca i, doszedłszy do sutereny (gdzie jeszcze przed kilku miesiącami stolarz miał skład drzewa, a gdzie Jupien zamierzał trzymać węgle), przebyć kilka stopni wiodących do sklepu. W ten sposób odbyłbym całą drogę w ukryciu, nie widziałby mnie nikt. Było to najbezpieczniej. Ale nie tę drogę obrałem: sunąc wzdłuż muru, obszedłem po prostu dziedziniec, starając się, aby mnie nie widziano.

Jeżeli mnie nikt nie ujrzał, sądzę, że zawdzięczam to raczej przypadkowi niż roztropności. A dla faktu, że obrałem postanowienie tak nierozważne (podczas gdy iść piwnicami było tak bezpiecznie), widzę trzy możliwe racje, przyjąwszy, że w ogóle była jaka. Najpierw swoją niecierpliwość. Następnie może mgliste wspomnienie sceny w Montjouvain, kiedy stałem ukryty za oknem panny Vinteuil. W istocie, tego rodzaju rzeczy, których byłem świadkiem, zawsze miały w swojej inscenizacji charakter najbardziej nieostrożny i najmniej prawdopodobny, tak jakby podobne odkrycia miały być nagrodą jedynie aktu pełnego ryzyka, mimo iż po części tajemnego. Trzecią wreszcie rację zaledwie śmiem wyznać z powodu jej dzieciństwa, mimo iż była ona, jak sądzę, podświadomie rozstrzygająca. Od czasu jak chcąc sprawdzić — i przekonać się o ich zawodności — zasady wojskowe Roberta, śledziłem bardzo szczegółowo wojnę Boerów, doprowadziło mnie to do odczytywania dawnych opisów odkryć, podróży. Te opowiadania rozpały mnie i stosowałem je w życiu codziennym, aby w sobie wyrobić więcej odwagi. Kiedy ataki choroby trzymały mnie przez wiele dni i nocy nie tylko bez snu, ale bez spoczynku, bez picia i jedzenia, w chwili gdy wyczerpanie i ból stawały się beznadziejne, myślałem o jakimś wyrzuconym na brzeg podróżnika, zatrutym zabójczymi ziołami, dygocącym z gorączki w sukniach zmoczonych wodą morską, który wszelako, czując się lepiej po upływie dwóch dni, puszczał się na oślep na poszukiwanie mieszkańców, mających się może okazać ludożercami. Te przykłady krzepiły mnie, wracały mi nadzieję: wstyd mi było chwilowej rozpacz. Myśląc o Boerach, którzy, mając na wprost siebie armię angielską, nie lękali się odsłonić, przebywając kawał szczerzego pola, zanim znów dopadli gąszczu, myślałem sobie: „Ja miałbym być tchórzliwszy, kiedy teatrem operacyjnym jest tylko własny dziedziniec i kiedy mnie — który bez cienia lęku miałem kilka pojedynków w momencie sprawy Dreyfusa — grozi jedynie wzrok sąsiadów, mających co innego do roboty niż patrzeć na dziedziniec”.

Ale kiedy się znalazłem w sklepie, starając się, o ile możliwości, aby podłoga nie trzeszczała, i zdając sobie zarazem sprawę, iż najlżejszy szmer w sklepie Jupiena słyhać w mojej kryjówce, osądziłem, do jakiego stopnia Jupien i pan de Charlus byli nierozważni i jak bardzo traf im sprzyjał.

Nie śmiałem się poruszyć. Masztalesz księstwa de Guermantes, korzystając z pewnością z ich nieobecności, przeniósł niedawno do sklepu, gdzie się znajdował, drabinkę przechowywaną dotąd w remizie. Gdybym wszedł na tę drabinkę, mógłbym otworzyć okienko i słyszeć wszystko tak, jakbym był w samym pokoju Jupiena. Ale bałem się narobić hałasu. Zresztą to było zbyt bezsensowne. Nie potrzebowałem nawet żałować, że znalazłem w sąsiednim sklepie dopiero po upływie kilku minut. Bo, sądząc z tego, com usłyszał w pierwszej chwili w lokalu Jupiena — a były to same nieartykułowane dźwięki — przypuszczam, że wymieniono tam niewiele słów. Prawda, iż dźwięki były tak gwałtowne, że gdyby im wciąż nie towarzyszył, o oktawę wyżej, równoległy jęk, mógłbym przypuszczać, że to jakiś człowiek tuż obok morduje drugiego i że potem morderca wraz ze swoją zmartwychwstałą ofiarą biorą kąpiel, aby zatrzeć ślady zbrodni. Wywnioskowałem stąd później, że jeżeli jest jakaś rzecz równie hałaśliwa jak cierpienie, to jest nią rozkosz, zwłaszcza kiedy się z nią łączy — w braku obawy dziecka, co nie mogło grozić

tutaj, mimo (niezbyt przekonującego) przykładu z *Żywotów świętych* — natychmiastowa troska o kwestie czystości. Wreszcie, po upływie mniej więcej pół godziny (w czasie której wdrapałem się ostrożnie na drabinę, aby patrzeć przez zamknięty zresztą lufcik), zawiązała się rozmowa. Jupien odmawiał energicznie wzięcia pieniędzy, które mu pan de Charlus chciał wręczyć.

Po upływie pół godziny pan de Charlus wyszedł.

— Czemuś ty się tak ogolił — rzekł do barona Jupien pieszczotliwym tonem. — To takie ładne, piękna broda.

— Fe! To obrzydliwe — odparł baron. Ale wciąż jeszcze stał w progu i wypytywał Jupiena o jakieś szczegóły dotyczące dzielnicy. — Nie wiesz nic o kasztaniarzu na rogu, nie po lewej, to ohyda, ale po parzystej stronie, wielki chłop, bardzo czarny? A aptekarz naprzeciwko, jest tam bardzo milusi goniec, który rozwozi lekarstwa.

Te pytania zmroziły zapewne Jupiena, bo prostując się z urazą zdradzonej „wielkiej miłości”, odparł:

— Widzę, że pan ma serce jak dom zajezdny

Wyrzut ten, wygłoszony bolesnym, lodowatym i mizdrzącym się tonem, musiał być dotkliwy dla pana de Charlus; aby zatrzeć złe wrażenie wywołane jego ciekawością, zwrócił się do Jupiena (zbyt cicho, abym mógł dosłyszeć słowa) z prośbą wymagającą z pewnością przedłużenia ich pobytu w sklepie. Krok ten wzruszył snadź krawca na tyle, aby zatrzeć jego urazę, bo popatrzał na twarz barona — tłąstą i przekrwioną pod szpakowatymi włosami — z upojoną miną człowieka, którego miłość własną pogłaskano rozkosznie. Decydując się przychylić do próśb pana de Charlus, po uwagach pozbawionych dystynkcji, jak: „Ależ masz wielką pupę”, Jupien rzekł do barona z uśmiechem, wzruszony, dumny i wdzięczny:

— No, dobrze już, dobrze, ty mój smarkaty.

— Jeżeli wracam do kwestii konduktora tramwajowego — podjął wytrwały pan de Charlus — to dlatego że, poza wszystkim innym, mogłoby mi się to przydać w pewnych wypadkach, na przykład z okazji powrotów. Zdarza mi się w istocie, jak kalifowi przebiegającemu Bagdad w postaci prostego kupca, iść za jakąś interesującą osobką, której sylwetka mnie zaciekawi.

Uderzyło mnie tutaj to samo, co mnie już raz zastanowiło u Bergotte'a. Gdyby miał kiedy odpowiadać przed sądem, użyłby nie tych wyrażen, które by najsnadniej mogły przekonać sędziów, ale wyrażen *à la* Bergotte, które mu podsuwał jego swoisty temperament literacki i których użycie sprawiało mu przyjemność. Podobnie pan de Charlus, mówiąc z pokątnym krawcem, posługiwał się językiem, jakiego by używał z ludźmi swojej sfery. Przesadzał nawet swoje tiki: czy że nieśmiałość, z którą silił się walczyć, popychała go do nadmiernej dumy, czy że, przeszkadzając mu panować nad sobą (bo jesteśmy bardziej onieśmieleni wobec osoby nienależącej do naszej sfery), kazała mu odsłonić, obnażyć swoją naturę, w istocie dumną i trochę niepoczytalną, jak mówiła pani de Guermantes.

— Aby nie zgubić tropu — ciągnął baron — skaczę jak student, jak młody i piękny medyk do tego samego tramwaju co młoda osobka, o której mówimy w rodzaju żeńskim jedynie dla zachowania reguły (tak jak się mówi o panującym: „Czy wasza wysokość jest zdrowa”). Jeżeli osobka zmieni tramwaj, biorę — może wraz z mikrobami dżumy — tę niewiarygodną rzecz zwaną „przesiadką” i numer, który — mimo że go wręczają *mnie!* — nie jest zawsze numerem I! Przesiadam się w ten sposób trzy lub cztery razy. Dobiłam czasem o jedenastej wieczór Dworca Orleańskiego, i trzeba wracać! Gdybyż to był tylko Dworzec Orleański! Ale raz na przykład, nie mogąc wcześniej nawiązać rozmowy, dojechałem do samego Orleanu w jednym z tych okropnych wagonów, gdzie się ma jako widok, między trójkątnymi robótkami, tak zwanymi „szydełkowymi”, fotografie architektonicznych arcydzieł okręgu kolejowego. Było tylko jedno miejsce wolne, miałem na wprost siebie, jako monument historyczny, „widok” katedry orleańskiej, najbrzydszej we Francji i równie męczącej do oglądania w ten sposób wbrew woli, co gdyby mi kazano podziwiać jej wieże w szkiełku obsadek z „widokami”, od których dostaje się zapalenia oczu. Wysiadłem w Aubrais równocześnie z młodą osobą, którą, niestety, rodzina (wówczas gdy ją ją posądzalem o wszystkie przywary z wyjątkiem tej, aby miała rodzinę) oczekiwała na peronie! Czekać na pociąg, który by mnie odwiózł do Paryża, miałem za całą pociechę jedynie dom Diany de Poitiers. Mimo iż ta Diana czarowała jednego

z moich królewskich przodków, wołałbym piękność bardziej aktualną. Toteż aby mieć lekarstwo na nudę tych samotnych powrotów, chętnie bym poznał jakiegoś posługacza od wagonów sypialnych, jakiego konduktora osobowego pociągu. Niech cię to nie razi — zakończył baron — to wszystko jest kwestia odcieni. Wobec młodych ludzi z towarzystwa na przykład nie pragnę wcale fizycznego posiadania, ale znajduję ukojenie aż wtedy, kiedym się w nich domacał, nie dosłownie, tkliwej struny. Skoro zamiast zostawiać moje listy bez odpowiedzi młody człowiek nie przestaje pisać do mnie, kiedy jest moralnie *mój*, jestem uspokojony lub przynajmniej byłbym uspokojony, gdybym zaraz nie zaczął pragnąć innego. To dosyć ciekawe, prawda? *A propos* młodych ludzi z towarzystwa, czy nie znasz czegoś takiego pośród tych, co bywają tutaj?

— Nie, *mój* dzidziusiu. A, owszem, jest jeden brunet, bardzo wysoki, z monoklem, który wciąż się śmieje i ogląda.

— Nie orientuję się, kogo ty masz na myśli...

Jupien uzupełnił portret, ale pan de Charlus nie mógł dojść, o kogo chodzi, bo nie wiedział, że eks-krawiec jest z gatunku ludzi liczniejszych, niż się mniema, którzy nie pamiętają koloru włosów mniej znajomych im osób. Ale dla mnie, który znałem ten defekt Jupiena i zastąpiłem bruneta blondynem, portret ten odpowiadał dość ściśle księciu de Châtellerault.

— Aby wrócić do młodych ludzi nie z ludu — podjął baron — w tej chwili mam głowę zaproszoną szczególnym chłopakiem, młodym inteligentem, który traktuje mnie wściekle niegrzecznie. Nie ma żadnego poczucia olbrzymiej osobistości, jaką jestem ja, a mikroskopijnego wibriona, jakim jest on. Ostatecznie, mniejsza, ten młody osioł może ryczeć, ile mu się podoba, wobec mojej dostojnej szaty biskupiej.

— Biskup! — wykrzyknął Jupien, który nic nie zrozumiał z ostatnich słów pana de Charlus, ale którego słowo „biskup” wprawilo w osłupienie. — Ależ to całkiem nie pasuje z religią — rzekł.

— Mam trzech papieży w rodzinie — odparł pan de Charlus — i prawo noszenia się czerwono z racji tytułu kardynalskiego; siostrzenica kardynała, mojego wujecznego dziadka, wniosła memu dziadkowi tytuł diuka, który substytuowano. Widzę, że moje metafory zostawiają cię głuchym, a historia Francji obojętnym. Zresztą — dodał baron, nie tyle może w sensie konkluzji, co w sensie ostrzeżenia — ten urok, jaki wywierają na mnie młode osoby, które mnie unikają, ze strachu rozumie się, bo jedynie szacunek zamyka im usta i nie pozwala im krzyczeć, że mnie kochają, ten urok wymaga u nich znamienitej rangi społecznej. A i tak ich udana obojętność może mimo to mieć wręcz przeciwny skutek. Głupio przeciągana mierzi mnie. Dam ci przykład zaczerpnięty w klasie, która ci będzie bliższa. Kiedy odnawiano *mój* pałac, nie chcąc wzniecać zazdrości między damami z mitrą, które walczyły o to, aby móc opowiadać, że u nich mieszkał, przeniosłem się na kilka dni do „hotelu”, jak się to nazywa. Znając jednego ze służących, wskazałem mu interesującego małego „strzelca”, który się okazał oporny na moje propozycje. W końcu, przywieziony do ostateczności, aby mu dowieść, że moje intencje są czyste, ofiarowałem mu śmiesznie wysoką sumę jedynie za to, aby przyszedł na pięć minut porozmawiać do mojego pokoju. Czekałem na próżno. Nabrałem wówczas do niego takiego wstrętu, że uchyliłem służbowymi schodami, aby nie musieć oglądać gęby tego małego ladaco. Dowiedziałem się później, że nie dostał żadnego z moich listów: wszystkie przejęto! Pierwszy list skreślił służący, który był zazdrosny; drugi — portier dzienny, który był cnotliwy; trzeci — portier nocny, który się kochał z młodym „strzelcem” i sypiał z nim o godzinie, w której Diana wstaje. Mimo to *mój* wstręt przetrwał i choćby mi przyniesiono tego boy’a na srebrnym półmisku, odepchnąłbym go ze wstrętem. Ale patrz, co za nieszczęście: wdaliśmy się w rozmowę o rzeczach serio i teraz przepadło dla nas to, na co liczyłem. Ale mógłbyś mi oddać wielkie usługi, służyć mi za pośrednika... Chociaż nie, sama ta myśl wróciła mi jurność, czuję, że nic nie jest skończone.

Od początku tej sceny huska opadła mi z oczu; pan de Charlus zmienił się w nich tak kompletnie i tak nagle, jak gdyby go dotknięto różdżką czarnoksiężką. Dotąd, ponieważ nie rozumiałem, nie widziałem. Przywara (tak się mówi dla wygody słownictwa), przywara każdego człowieka towarzyszy mu na sposób owego ducha niewidzialnego ludziom, dopóki nie znali jego obecności. Dobroć, fałsz, nazwisko, stosunki światowe są czymś nie do odgadnięcia, człowiek nosi je ukryte. Sam Ulisses zrazu nie poznał Atene. Ale

bogowie są natychmiast dostrzegalni bogom; i niemniej szybko podobny odgaduje podobnego, jak się to okazało z panem de Charlus i Jupienem. Dotąd patrzyłem na pana de Charlus tak, jak roztargniony człowiek patrzy na kobietę brzemienną, której zmienionej figury nie zauważył. I gdy ona powtarza mu z uśmiechem: „Tak, jestem trochę zmęczona w tej chwili”, on dopytuje się uparcie: „Co pani jest?”. Ale niech mu ktoś powie: „Jest w ciąży”, nagle spostrzeże brzuch i będzie widział tylko ten brzuch. Intelpekt otwiera nam oczy, rozprószona omyłka przydaje nam jeden zmysł więcej.

Ci, co nie lubią szukać przykładu tego prawa w znajomych sobie „panach de Charlus”, których długi czas nie podejrzewali, aż do dnia, gdy na gładkiej powierzchni osobnika podobnego do innych zjawily się, wypisane nieczytelnym dotąd atramentem, głoski składające słowo drogie dawnym Grekom, ci, jeśli chcą zrozumieć, iż otaczający ich świat ukazuje się im zrazu nagi, odarty z tysiąca ornamentów, które nastrocza świadomym, niech sobie tylko przypomną, ile razy w życiu zdarzyło im się być blisko popełnienia gafy. Nic na neutralnej twarzy danego osobnika nie mogło im wskazać, że ów osobnik jest właśnie bratem, narzeczonym lub kochankiem kobiety, o której mieli powiedzieć: „Co za krowa!”. Szczęściem słowko szepnięte im w porę przez sąsiada zatrzymuje im na wargach nieszczęsne wyrażenie. Natychmiast zjawiają się niby *Mane, Tekel, Fares* te słowa: to jest narzeczony albo: to jest brat, albo: to jest kochanek kobiety, której nie wypada nazywać przy nim „krową”. I ta nowa świadomość pociągnie za sobą przegrupowanie, cofnięcie lub posunięcie się naprzód cząstki wiadomości — uzupełnionych obecnie — jakie się posiadało o reszcie rodziny. Daremnie w panu de Charlus inna istota, różniąca go od innych ludzi, łączyła się niby w centaurze koń z człowiekiem, daremnie ta inna istota zespalała się z baronem — nie spostrzegłem jej dotąd nigdy. Teraz abstrakcja zmaterializowała się; zrozumiana nareszcie istota straciła natychmiast swoją czapkę-niewidkę; przeobrażenie pana de Charlus w nową osobę było tak zupełne, że nie tylko kontrasty jego twarzy, głosu, ale retrospektywnie nawet przyływy i odpływy jego stosunku do mnie, wszystko, co wydawało się dotąd mojej inteligencji czymś bezładnym, stawało się zrozumiałe, oczywiste. Tak zdanie nieprzedstawiające żadnego sensu, dopóki pozostaje rozłożone na rozsypane przypadkowo litery, wyraża — skoro te litery ułożyć we właściwym porządku — myśl, której niepodobna już będzie zapomnieć.

Co więcej, zrozumiałem teraz, czemu przed chwilą, widząc barona wychodzącego od pani de Villeparisis, mogłem uważać, że on wygląda na kobietę: był kobietą! Należał do rasy istot, mniej paradoksalnych, niż się wydaje, których ideałem jest męskość właśnie dlatego, że ich natura jest żeńska, a które w życiu są podobne jedynie z pozoru do innych mężczyzn; tam gdzie każdy nosi — wypisaną w tych oczach, którymi widzi wszystko we wszechświecie — sylwetkę wyrytą w soczewce źrenicy, u nich nie jest to sylwetka nimfy, lecz efeba. Rasa, na której ciąży przekleństwo i która musi żyć w kłamstwie i krzywoprzysięstwie, bo wie, że jej pragnienie, stanowiące dla wszelkiej istoty największą słodycz życia, jest niepodobne do wyznania, karalne i hańbiące; rasa, która musi się zapierać swojego Boga, bo nawet chrześcijanie, kiedy się jawią przed kratkami sądowymi jako oskarżeni, muszą, wobec Chrystusa i Jego imienia, bronić się niby od potwarzy od tego, co jest treścią ich życia; synowie bez matki, której muszą kłamać całe życie, nawet w chwili gdy jej zamykają oczy; przyjaciele bez przyjaźni, mimo wszystkich uczuć, które często budzi ich czar i których serce ich, często dobre, mogłoby kosztować; ale czy można nazwać *przyjaźnią* stosunki wegetujące jedynie dzięki kłamstwu; stosunki, w których pierwszy ufny i szczerzy wylew sprawiłby, że by ich odrącono ze wstrętem, chyba że mają do czynienia z umysłem bezstronnym, nawet współczującym, ale który wówczas, zmylony w danym przedmiocie konwencjonalną psychologią, z wyznanego błędu wywiedzie przywiązanie najbardziej błędowi temu obce, tak jak niektórzy sędziowie łatwiej przyjmują i usprawiedliwiają morderstwo u zbrojców, a zdradę u Żydów, z motywów zaczerpniętych z grzechu pierworodnego i z fatalności rasy. Kochankowie — przynajmniej wedle mojej pierwotnie naszkicowanej teorii, która, jak się to okaże, zmieni się w przyszłości, a w której najbardziej by ich to zmartwiło, gdyby ta sprzeczność nie była skryta ich oczom siłą tego samego złudzenia, które im dawało widzieć i żyć — kochankowie, dla których jest niemal zamknięta możliwość tej miłości, dającej im przez swoje nadzieje siłę zniesienia tyłu niebezpieczeństw i takiego osamotnienia, gdyż szaleją właśnie za mężczyzną nie mającym nic z kobiety, za mężczyzną nie będącym zbrojcem i tym samym niezdolnym

ich kochać; tak iż pragnienie ich byłoby na zawsze nieugaszone, gdyby pieniądze nie wydawały im na łup prawdziwych mężczyzn i gdyby wyobraźnia nie ukazywała im prawdziwych mężczyzn w zbroczeniach, z którymi się prostytuują. Honor mają jedynie z łaski, wolność — prowizoryczną aż do odkrycia zbrodni; sytuację — chwiejną, jak ów poeta wczoraj fetowany w salonach, oklaskiwany we wszystkich teatrach Londynu, nazajutrz wypędzony ze wszystkich oberży, nie mający gdzie głowy skłonić, obracający żarna jak Samson i mówiący jak on:

Dwie płcie umrą, każda po swojej stronie;

wyzuci nawet — z wyjątkiem dni wielkiej niedoli, kiedy ciżba skupia się koło ofiary jak Żydzi koło Dreyfusa — z sympatii, czasem z towarzystwa podobnych sobie, budzą w nich wstręt przez to, że im ukazują to, czym tamci są; są dla nich lustrem, co, nie pochlebając im już, zdradza wszystkie skazy, których nie chcieli zauważyć u siebie, i przekonuje ich, że to, co nazywali swoją miłością (i z czym, igrając ze słowami, skojarzyli przez zmysł socjalny wszystko to, co poezja, malarstwo, muzyka, rycerstwo, ascetyzm mogły przydać miłości), wypływa nie z obranego przez nich ideału piękności, ale z nieuleczalnej choroby. I — znów jak owi Żydzi (z wyjątkiem niektórych, chcących obcować jedynie z ludźmi swojej rasy, mających w ustach zawsze rytualne słowa i uświęcone żarciki) — stronią jedni od drugich, szukając tych, którzy są ich największym przeciwieństwem, którzy ich nie chcą; i wybaczą im objawy wstrętu, upajając się ich uprzejmością; ale tak samo jak Żydzi złączeni z podobnymi sobie przez ostracyzm, jaki ich wspólnie dotyka, przez hańbę, w jaką popadli, nabierają w końcu, od prześladowań podobnych prześladowaniu Izraela, fizycznych i moralnych cech rasy. Czasami piękni, często ohydni znajdują (mimo wszystkich drwin, jakimi osobnik bardziej mieszany, lepiej zasymilowany z przeciwną rasą i na pozór mniej stosunkowo zboczony, obsypuje większego zbroczeniaka) w towarzystwie podobnych sobie wytchnienie, a nawet oparcie własnej egzystencji; tak iż, przecząc, aby byli rasą (której nazwa jest największą zniewagą), demaskują chętnie tych, co zdołali ukryć, że do niej należą, nie tylko aby im szkodzić (co również zresztą się zdarza), ile by wytłumaczyć samych siebie; szukają — jak lekarz zapalenia wyrostka robaczkowego — inwersji nawet w historii, z lubością przypominając — jak Izraelici mówią o Jezusie — że Sokrates był jednym z nich, nie pamiętając, że nie było zbroczeniów wówczas, gdy homoseksualizm był normą — jak nie było antychrześcijan przed Chrystusem — że jedynie hańba tworzy zbrodnię, ponieważ dała przetrwać tylko tym, co byli oporni na wszelkie upomnienia, na wszelki przykład, na wszelką karę, na skutek wrodzonego usposobienia tak specjalnego, że budzi w innych ludziach (mimo że mogą się z nim łączyć wysokie przymioty moralne) większy wstręt niż niektóre przywary najbardziej sprzeczne z moralnością, jak kradzież, okrucieństwo, zła wiara — przywary lepiej rozumiane, zatem łatwiej usprawiedliwione przez ogół. Ci ludzie stanowią masonerię rozleglejszą, skuteczniejszą i mniej podejrzaną niż loże masonskie, bo opiera się na tożsamości gustów, potrzeb, nawyków, niebezpieczeństw, wtajemniczenia, wiedzy, frymarki, słownictwa; masonerię, w której nawet ci jej członkowie, którzy nie chcą się znać wzajem, natychmiast się poznają po naturalnych lub umownych, mimowolnych lub celowych znakach, odsłaniających żebrakowi pobratymca w wielkim panu, któremu ów zamyka drzwiczki od karety, ojcu w narzeczoną córki, pacjentowi, penitentowi, klientowi w lekarzu, w księdzu, w adwokacie; wszyscy zmuszeni chronić swój sekret, ale uczestniczący w sekrecie drugich, którego reszta ludzkości nie podejrzewa. Dla tych ludzi najnieprawdopodobniejsze romanse stają się prawdą, bo w tym romantycznym, anachronicznym życiu ambasador jest przyjacielem zbrodniarza, księżę — z ową swobodą manier, którą daje arystokratyczne wychowanie, a której nie miałby drobnomieszczanin — wychodząc od księżnej, idzie na schadzki z apaszem. Jest to część społeczności ludzkiej potępiona, ale część ważna, podejrzana tam, gdzie jej nie ma, rozsiadająca się zuchwale i bezkarnie tam, gdzie jej nie odgadują; licząca adeptów wszędzie, wśród ludu, w armii, w świątyni, na galerach, na tronie; żyjąca wreszcie — przynajmniej jej największa część — w przymilnej i niebezpiecznej czułości z ludźmi innej rasy, wyzywająca ich, igrająca z nimi mówiąc o zbroczeniu, tak jakby ono nie było ich udziałem: gra, którą ułatwiło zaślepienie lub fałsz tamtych, gra, która może się przeciągać przez lata, aż do dnia skandalu, który pożera tych pogromców.

Aż do tej pory zmuszeni są ukrywać swoje życie, odwracać spojrzenia od tego, na czym chcieliby je zatrzymać, zatrzymywać je na tym, od czego chcieliby je odwrócić; muszą zmieniać rodzaj przymiotników w swoim słownictwie. Ten przymus socjalny lekki jest w porównaniu z wewnętrznym przymusem, jaki zboczenie — lub to, co się niewłaściwie tak nazywa — nakłada im już nie w stosunku do innych, ale w stosunku do nich samych, i tak, aby im samym nie wydawało się zboczeniem. Ale niektórzy, praktyczniejsi, bardziej spieszący się, nie mający czasu sami wychodzić na targ ani wyrzec się uproszczeń życia oraz tej oszczędności czasu, jaką może dać kooperacja, stworzyli sobie dwa towarzystwa, z których drugie składa się całkowicie z istot im podobnych.

Uderza to u tych, którzy są biedni i przybywają z prowincji, bez stosunków, z jedną ambicją, aby zostać kiedyś jeden sławnym lekarzem, inny adwokatem, jeszcze bez przekonania, bez manier, których spodziewają się szybko nabyć, tak jak do swego pokoiku w Quartier Latin kupują meble wedle tego, co zauważą i przejmą u tych, co się już „wybili” w jakimś pożytecznym i poważnym zawodzie, w którym oni pragnęliby zająć zaszczytne miejsce. U tych ów specjalny pociąg, odziedziczony bez ich wiedzy, jak talent do rysunku, do muzyki, jak ślepotą, jest może jedyną żywotną i despotyczną oryginalnością, która pewnego wieczora każe im poświęcić jakieś pożyteczne dla ich kariery zebranie w towarzystwie ludzi, od których poza tym przejmują sposób mówienia, myślenia, ubierania się, czesania. W swojej dzielnicy, gdzie odwiedzają jedynie kolegów, nauczycieli lub jakiegoś wpływowego i życzliwego krajana, szybko odkryli innych młodych ludzi, których ten sam specjalny gust zbliża do nich, tak jak w małym miasteczku zbliżą się z sobą nauczyciel i rejent, obaj zamilowani w muzyce kameralnej lub kolekcjonujący średnio-wieczną kość słoniową; w przedmiot swojej rozrywki wkładając ten sam zmysł utylitarny, tego ducha zawodowego, jakiego przestrzegają w swojej karierze, spotykają ich na zebraniach, gdzie tak samo nie dopuszcza się żadnego profana, jak na wspólnych zebraniach amatorów starych tabakierek, japońskich sztychów, rzadkich kwiatów, gdzie przyjemność kształcenia się, pożytek wymiany i obawa współzawodnictwa rodzi, jak na giełdzie marek pocztowych, zarazem solidarność specjalistów i dzikie rywalizacje kolekcjonerów. Nikt zresztą w kawiarni, gdzie oni mają swój stolik, nie wie, co to jest za zebranie; czy to jest towarzystwo rybołówców, dziennikarzy lub „dzieci Indre”, tak bardzo zachowanie ich jest poprawne, wzięcie wstrzemięźliwe i chłodne, tak dalece nie śmieją się przyglądać inaczej niż ukradkiem młodym elegantom, młodym „lwom”, którzy o kilka kroków dalej szumnie paradują ze swymi damulkami. I ci, co ich podziwiają nie śmiejąc podnieść oczu, dowiedzą się aż w dwadzieścia lat później, kiedy jedni będą na progu Akademii, a drudzy starymi klubowcami, że najbardziej uroczy wśród tamtych, obecnie gruby i szpakowaty Charlus, był w istocie podobny do nich, ale gdzie indziej, w innym świecie, pod innymi godłami, z obcymi ich cechami, których odmiennosć wprowadziła ich w błąd. Takie ugrupowania bywają mniej lub więcej zaawansowane; i jak Unia Lewicy różni się od Federacji Socjalistycznej, a jakieś stowarzyszenie muzyczne mendelsonistów od Schola Cantorum, tak w pewne wieczory, przy innym stoliku, znajdują się ekstremiści, u których błysnie na chwilę spod mankietu bransoletka, czasem naszyjnik spod kołnierza koszuli, którzy swoimi natrętnymi spojrzeniami, swoim gruchaniem, piskami, śmieszkami, piśczotkami wyplaszają gromadkę uczniów. Tych obsługuje garson z grzecznością, pod którą czai się oburzenie; ten sam garson, który w pewne wieczory, kiedy obsługuje dreyfusistów, z przyjemnością wezwałby policji, gdyby mniej cenił satysfakcję zgarniania napiwków.

Tym organizacjom zawodowym smak przeciwstawia gusty samotników; dość naturalnie zresztą, gdyż naśladuje w tym właśnie owych samotników, którzy sądzą, że nic bardziej się nie różni od zorganizowanego zboczenia niż to, co się im samym wydaje niezrozumianą miłością; i co prawda też z pewną sztuczością, bo te rozmaite klasy, tak jak odpowiadają różnym typom fizjologicznym, tak też odpowiadają kolejnym momentom ewolucji patologicznej lub tylko socjalnej. I rzadkie w istocie jest, aby — prędzej lub później — samotnicy nie roztopili się w końcu w takich organizacjach, czasem przez proste znużenie, dla wygody (jak ci, co będąc długo największymi tego przeciwnikami, zakładają w końcu u siebie telefon, przyjmują państwa Iéna lub zaopatrują się u Potina). Są tam zresztą raczej źle widziani, bo w ich życiu stosunkowo czystym brak doświadczenia, przerost wyobraźni, na którą są skazani, silniej wycisnęły w nich swoiste cechy

zniewieściałości, które zawodowcy starali się zatrzeć. I trzeba przyznać, że u wielu z tych adeptów kobieta nie tylko wewnętrznie kojarzy się z mężczyzną, ale jest wstrętnie widoczna u tych ludzi wstrząsanych histerycznym spazmem ostrego śmiechu, który skręca im ręce i kolana, u tych osobników nie więcej już podobnych do ogółu ludzi niż owe małpy z podkrążonymi i melancholijnymi oczami, z chwytnymi nogami, ubrane w smoking i czarną krawatkę; tak iż mniej czystszy od nich uważają tych nowych adeptów za kompromitujące i niechętnie tolerowane towarzystwo; przyjmuje się ich wszelako i wówczas korzystają z owych ułatwień, za pomocą których handel, wielkie przedsiębiorstwa przeobraziły życie jednostek, udostępniły produkty dotąd zbyt luksusowe, a nawet trudne do dostania, i teraz zalewają ich nadmiarem tego, czego oni sami nie zdołaliby odkryć i w największym tłumie. Ale, nawet przy tych niezliczonych ułatwieniach, ucisk społeczny jest jeszcze zbyt ciężki dla niektórych, zwłaszcza tych, co nie wyzwolili się jeszcze z ucisku duchowego i wciąż uważają swój rodzaj miłości za rzadszy, niż jest. Zostawmy na chwilę tych, którym wyjątkowy charakter ich skłonności każe spoglądać z góry na kobiety, gardzić nimi i którzy czynią z homoseksualizmu przywilej wielkich geniuszów i wspaniałych epok. Ci, kiedy się starają nawracać na swój gust, zwracają się, przez żarliwość apostołstwa, tak jak inni głoszą syjonizm, integralny pacyfizm, saintsimonizm, wegetarianizm i anarchię, nie tyle do tych, którzy im się wydają predysponowani — jak czyni morfinoman z morfiną — ile do tych, którzy się im wydają godni. Niektórzy, kiedy ich zająć rano jeszcze w łóżku, ukazują cudowną głowę kobietą — tak dalece wyraz twarzy jest wspólny i symbolizuje całą płęć: potwierdzają to nawet ich włosy, zwoje ich są tak kobiece, pukle spadają tak naturalnie na policzki, że podziwiamy, iż młoda kobieta, młoda dziewczyna, Galatea ledwo budząca się w nieświadomości ciała mężczyzny, w którym jest zamknięta, mogła tak genialnie, sama z siebie, nie nauczywszy się od nikogo, skorzystać z najmniejszych szczelin swego więzienia, znaleźć to, co jej było potrzebne do życia. Bez wątpienia, młody człowiek z tą uroczą głową nie mówi: „Jestem kobietą”. Nawet jeżeli — z tylu możebnych przyczyn — żyje z kobietą, może się zaprzeczyć własnej kobiecości, może przysiąc, że nigdy nie miał nic z mężczyznami. Ale niech go kobieta ujrzy takim, jakim myśmy go pokazali, w łóżku, w pidżamie, z nagimi ramionami, z nagą szyją w fali ciemnych włosów. Pidżama zmieniła się w stanik kobiecy, głowa w główkę ładnej Hiszpanki. Kochankę przerażają te zwierzenia uczynione jej oczom, prawdziwsze, niżby mogły być słowa, a nawet czyny; zwierzenia, których zresztą czyny — jeżeli tego nie uczyniły dotąd — nie omieszkają potwierdzić, bo wszelka istota bieży za swoją rozkoszą, a jeżeli ta istota nie jest zbyt skażona, szuka jej w płci przeciwnej sobie. A dla zboczeńca zboczenie zaczyna się nie wtedy, kiedy nawiązuje stosunki z kobietami (zbyt wiele przyczyn może mu to nakazywać), ale wtedy, kiedy doznaje z nimi rozkoszy. Młody człowiek, któregośmy tu próbowali odmalować, był tak oczywiście kobietą, że kobiety, które spoglądały nań pożądliwie, były skazane (poza wypadkiem jakichś specjalnych skłonności) na to samo rozczarowanie co te, które w komediach Szekspira są zwiedzione przez przebraną młodą dziewczynę, podającą się za młodzieńca. Tu oszukaństwo jest podobne i sam zboczeniec wie o tym, zgaduje zawód, jakiego po zdjęciu kostiumu dozna kobieta; czuje, jakim źródłem poetyckiej fantazji jest to płciowe *qui pro quo*. Nic to również, że nawet swojej wymagającej kochance (o ile ona nie jest gomorejką) nie wyzna: „Jestem kobietą”; pomimo to, z jakimż chytrościami, z jaką zwinnością, z jaką wytrwałością pnącej się rośliny owa nieświadoma, a oczywista kobieta szuka organu męskiego! Wystarczy spojrzeć na te włosy w puklach na białej poduszce, aby zrozumieć, że jeżeli wieczorem ten młody człowiek wymknie się rodzicom, wbrew nim, wbrew sobie, to nie po to, aby spieszyć do kobiet. Kochanka może go karcić, zamykać; nazajutrz mężczyzno-kobieta znajdzie sposób uczepienia się mężczyzny, jak powój zaczepia swoje wąsy tam, gdzie znajdzie łopatę lub grabie. Czemu podziwiając w twarzy tego osobnika subtelności, które nas wzruszają, naturalną słodycz obcą mężczyznom, czemu mielibyśmy rozpaczać, dowiadując się, że ten młody człowiek szuka towarzystwa bokserów? To są różne fizjognomie tej samej rzeczywistości. I nawet ta fizjognomia, która nas odpycha, jest najbardziej wzruszająca, bardziej niż wszystkie delikatności, bo przedstawia cudowny, nieświadomy wysiłek natury: poznanie płci przez nią samą; mimo oszukaństw płci objawia się skryte dążenie, aby się wymknąć ku temu, co początkowy błąd społeczeństwa od niej oddalił. Jedni — ci, co mieli dziecięctwo z pewnością najbardziej nieśmiało — prawie nie troszczą się o materialny



gatunek otrzymywanej rozkoszy, byleby ją mogli skojarzyć z męską twarzą. Inni znowuż, o zmysłach niewątpliwie gorętszych, zdecydowanie lokalizują swoją fizyczną rozkosz. Ci zgorzysiliby może swoimi wyznaniami przeciętny ogół. Żyją może mniej wyłącznie pod znakiem Saturna, bo dla nich kobiety nie są całkowicie wykluczone jak dla tych, dla których nie istniałyby one poza konwersacją, kokieterią, miłością cerebralną. Drudzy za to poszukują kobiet lubiących kobiety; one mogą im dostarczyć młodego człowieka, mogą wzbogacić przyjemność, jaką oni znajdują w jego towarzystwie; co więcej, mogą na ten sam sposób znaleźć u kobiety tę samą rozkosz co u mężczyzny. Stąd pochodzi, że ci, co kochają owych pierwszych, zazdrośni są jedynie o przyjemność, jaką ci mogliby znaleźć z mężczyzną; tylko ta przyjemność wydałaby się im zdradą, skoro nie znają miłości kobiet, praktykowali ją tylko ze zwyczaju i po to, aby sobie zabezpieczyć możliwość małżeństwa, przy czym tak dalece nie wyobrażają sobie rozkoszy, jaką może dać kobieta, iż fakt tej rozkoszy kosztowanej przez ich ukochanego nie może im sprawić bólu; drudzy natomiast często budzą zazdrość przez swoje miłostki z kobietami. Bo w swoich z nimi stosunkach grają oni dla kobiety, mającej pociąg do kobiet, rolę kobiety; równocześnie zaś kobieta daje im w przybliżeniu to, co znajdują w mężczyźnie; tak iż zazdrosny przyjaciel cierpi od myśli, że przedmiot jego ukochania sparzony jest z tą, która jest dlań prawie mężczyzną, a zarazem czuje, że przyjaciel niemal mu się wymyka, bo dla tych kobiet ów mężczyzna jest czymś, czego on sam nie zna — rodzajem kobiety.

Nie mówmy również o młodych urwisach, którzy przez jakieś dzieciństwo, aby podrażnić przyjaciół, zgorzyc rodzinę, z osobliwym uporem przybierają strój podobny do sukien kobiecych, różują sobie wargi, podczerniają oczy; pomińmy ich, bo odnajdziemy ich ponoszących zbyt okrutną karę za swoją komedię, całe życie daremnie siłących się surowym purytańskim wzięciem naprawić szkodę, jaką sobie wyrządzili, pchani przez tego samego demona, jaki popycha młode kobiety z Faubourg Saint-Germain do tego, aby żyć w sposób skandaliczny, aby zdeptać wszystkie formy, okryć hańbą rodzinę aż do dnia, w którym wytrwale i bez powodzenia zaczną się wdrapywać na skarpe, z której tak je bawiło schodzić lub raczej skąd schodziły parę jakąś zagadkową siłą.

Zostawmy wreszcie na później tych, co zawarli pakt z Gomerą. Będziemy mówili o nich wówczas, gdy pan de Charlus ich pozna. Zostawmy wszystkich tych, z tego czy owego gatunku, którzy zjawią się kolejno, i, aby skończyć wstępne rozważania, powiedzmy tylko słowo o tych, o których zaczęliśmy mówić przed chwilą — o samotnikach. Ci, uważając swoją przywarę za bardziej wyjątkową, niż jest, żyli samotnie od dnia, gdy ją odkryli, dźwigając ją wprzód dłużej bez świadomości własnej natury, dłużej jedynie niż inni. Bo nikt nie wie od razu, że jest zboczeńcem lub poetą, lub snobem, lub złym człowiekiem. Niejeden uczeń, poznając wiersze miłosne lub oglądając sprośne obrazki, jeżeli się przytula wówczas do kolegi, wyobraża sobie tylko, że się z nim łączy we wspólnym pragnieniu kobiety. Jakim cudem nie uważałby się za podobnego innym, kiedy istotą tego, czego doznaje, odnajduje czytając panią de La Fayette, Racine'a, Baudelaire'a, Waltera Scotta — wówczas kiedy jeszcze zbyt mało umie obserwować sam siebie, aby zrozumieć to, co przydaje z własnych zasobów, i aby odgadnąć, iż — o ile uczucie jest to samo — przedmiot jest inny, i że istotą, której pożąda, jest Rob Roy, a nie Diana Vernon? U wielu, przez samoobronę instynktu, wyprzedzającą świadomość inteligencji, lustro i ściany ich pokrywają się fotografiami aktorek; tacy fabrykują wiersze w rodzaju:

Chloe to moja jedyna,  
Najmilsza moja dziewczyna,  
Włosy jej jasne jak len,  
Jej miłość czarowny sen.

Czy mamy dlatego szukać w zaraniu tych egzystencji skłonności, których nie odnajdziemy w nich później, niby owych pukli blond u dzieci, mających później wyrósć na ciemnych brunetów? Kto wie, czy fotografie kobiet nie są początkiem obłudy, a także początkiem wstępu do innych zboczeńców?

Ale samotnicy to są właśnie ci, dla których obłuda jest bolesna. Może nawet przykład Żydów, tworzących kolonię odmiennego typu, nie jest dość silny, aby wskazać, jak mało wpływu ma na nich wychowanie i z jaką sztuką umieją wrócić (może nie do czegoś

tak po prostu okrutnego jak samobójstwo, do którego wariaci, wbrew wszelkim ostrożnościom, wracają, i gdy ich wyratować z rzeki, trują się, zdobywają rewolwer itd.), ale do życia, którego ludzie innej rasy nie tylko nie rozumieją, nie wyobrażają sobie, którego niezbędnych rozkoszy nienawidzą, ale którego ciągle niebezpieczeństwo i nieustająca hańba przejęłyby ich w dodatku zgrozą. Aby ich odmalować, trzeba może uprzytomnić sobie, jeżeli nie zwierzęta nie dające się obłaskawić, młode lewki rzekomo oswojone, ale pozostające lwami, to bodaj Murzynów, których mierzi wygodne życie białych i którzy wolą ryzyko dzikiego bytowania i jego niepojęte uciechy.

Kiedy tacy pewnego dnia odkryli, że są niezdolni kłamać drugim i wraz kłamać samym sobie, zagrzebują się na wsi, uciekając przed podobnymi sobie (których uważają za nielicznych) przez wstręt do potworności lub przez obawę pokusy — a przed resztą ludzkości ze wstydu. Nie osiągnąwszy nigdy prawdziwej dojrzałości, popadłszy w melancholię, od czasu do czasu, w jakąś bezksiężycową niedzielę idą przed siebie aż do skrzyżowania dróg, gdzie, nie porozumiewszy się z nimi ani słowem, czeka na nich przyjaciel z dzieciństwa, mieszkający w sąsiednim dworze. I rozpoczynają swoje dawne igraszki na trawie, w nocy, nie wymieniając ani słowa. W ciągu tygodnia odwiedzają się wzajem, rozmawiają o bądź czym, bez żadnej aluzji do tego, co zaszło, zupełnie tak, jakby się nic nie stało i nie miało się stać nadal; jedynie w stosunkach między nimi istnieje trochę chłodu, ironii, podrażnienia i urazy, czasem nienawiści. Potem bywa, iż sąsiad puszcza się w uciążliwą podróż konno, wspina się na mule na szczyty gór, sypia w śniegu; przyjaciel jego, który utożsamia własną przywarę z wåtłością temperamentu, z domatorskim i nieśmiałym życiem, pojmując, iż ta przywara nie zagrzeje już miejsca w wyemancypowanym przyjacielu, o tyle tysięcy metrów nad poziomem morza! I w istocie tamten żeni się. Jednakże ów opuszczony nie odzyskuje zdrowia (mimo wypadków, w których, jak wskażemy, zboczenie jest uleczalne). Co rano sam odbiera w kuchni świeżą śmietankę z rąk młodego mleczarza, wieczorami zaś, kiedy żądze nazbyt go nękają, zdarza mu się pokazać drogę zabląkanemu pijakowi, nawet poprawić bluzę biednemu ślepcowi. Bez wątpienia, życie niektórych zboczeńców zmienia się na oko: przywara ich (jak się to mówi) nie zdradza się w ich obyczajach; ale nic nie ginie; ukryty klejnot odnajduje się. (Kiedy ilość moczu u chorego maleje, to znaczy, że się więcej poci, ale wydzielanie musi się odbywać.) Jednego dnia ów homoseksualista traci młodego krewniaka i z jego niepokieszonego bólu zgadujecie, że to w tę miłość, czystą może i bardziej dbałą o zachowanie szacunku niż dążącą do posiadania, przeszły jego pragnienia — w drodze „przelewu”, tak jak w budzecie, nie zmieniając całkowitej sumy, daje się niektórym wydatkom inne przeznaczenie. I jak u owych chorych, u których atak pokrzywki na jakiś czas usuwa zwykle ich dolegliwości, czysta miłość do młodego krewniaka zastąpiła niejako czasowo u zboczeńca, przez metastazę, nawyki, które prędzej lub później odzyskują miejsce zastępczej i uleczonej choroby.

Wśród tego żonaty sąsiad samotnika wrócił; wobec piękności młodej małżonki oraz czułości, jaką jej okazuje mąż, przyjaciel — w dniu, gdy ich musi zaprosić na obiad — wstydzili się przeszłości. Młoda żona, już w poważnym stanie, musi wrócić wcześniej, zostawiając męża; kiedy nadeszła godzina powrotu, ów prosi przyjaciela, aby go odprowadził kawałek. Nie podejrzewa absolutnie nic, gdy nagle, na skrzyżowaniu dróg, znajduje się na trawie, bez słowa obalony przez alpinistę, mającego zostać ojcem. I znów zaczynają się schadzki aż do dnia, gdy niedaleko zamieszka kuzyn młodej żony, z którym teraz przechadza się stale mąż. I jeżeli opuszczony przyjaciel zachodzi wieczorem i stara się doń zbliżyć, ów, wściekły, odpycha go, oburzony, iż tamten nie ma na tyle taktu, aby odgadnąć wstręt, jaki budzi teraz. Raz jeden zgłasza się jakiś nieznajomy, posłany przez niewiernego sąsiada; ale wzgardzony przyjaciel, zbyt zajęty w danym momencie, nie może przyjąć obcego i dopiero później odgaduje, w jakim celu ów obcy przyszedł.

Wówczas odludek usycha sam. Nie ma innej rozrywki, jak chodzić na stację sąsiedniego kąpieliska, aby prosić o informacje pewnego urzędnika kolejowego. Ale ten dostał awans, przeniesiono go na drugi koniec Francji; samotnik nie będzie mógł już chodzić pytać go o godziny pociągów, o cenę biletu pierwszej klasy; zanim wróci marzyć w swojej wieży, jak Gryzelda, zasiaduje się na plaży, niby jakaś dziwna Andromeda, której nie przyjdzie oswobodzić żaden Argonauta; niby jałowa meduza, która zginie na piasku. Albo tkwi leniwo przed odejściem pociągu na peronie, obejmuje tłum podróżnych spojrze-

niem, które osobnikom innej rasy wyda się obojętne, wzdurliwe lub roztargnione, ale które niby świetlny blask, jakim się stroją pewne owady, aby zwabić owady tego samego gatunku, lub jak nektar produkowany przez pewne kwiaty, by ściągnąć owady mające je zapłodnić, nie oszukałoby niepodobnego niemal do znalezienia amatora zbyt specjalnej, zbyt trudnej do ulokowania rozkoszy, którą mu proponują; kolegi po fachu, z którym nasz specjalista mógłby mówić rzadkim językiem; co najwyżej jakiś włóczęga na ulicy uda, że się nim interesuje, ale tylko dla materialnej korzyści jak ci, co w Collège de France, w sali, gdzie profesor sanskrytu wyklada w próżnię, zachodzą na wykład, ale tylko po to, aby się ogrzać.

Meduza! Orchidea! Kiedym szedł tylko za swoim instynktem, meduza brzydziła mnie w Balbec; ale kiedym umiał na nią spojrzeć jak Michelet z punktu nauk przyrodniczych i estetyki, widziałem rozkoszny lazurowy żyrandol. Czyż one nie są, z tym przezroczystym aksamitem swoich płatków, niby liliowe orchidee morza? Jak tyle istot zwierzęcego i roślinnego królestwa, jak roślina, która produkowałaby wanilię, ale która, dlatego że organ męski oddzielony jest w niej cienką ścianką od organu żeńskiego, pozostaje jałowa (o ile kolibry lub pewne pszczołki nie przeniosą pyłku z jednego kwiatu na drugi lub o ile człowiek nie zapłodni ich sztucznie), tak pan de Charlus (a tutaj słowo „zapłodnienie” trzeba brać w sensie moralnym, skoro w sensie fizycznym połączenie samca z samcem jest jałowe; ale nie jest obojętne, aby dany osobnik mógł znaleźć jedyną rozkosz, do jakiej kosztowania jest zdolny, i aby „na tym padole” wszelka istota mogła użyzyć komuś „swojej melodii, swego płomienia lub swego zapachu”), pan de Charlus był z owych mężczyzn, których można nazywać wyjątkowymi, ponieważ, choćby byli bardzo liczni, zadowolenie ich potrzeb płciowych — tak łatwe u innych ludzi — zależy od zbiegu zbyt wielu i zbyt trudnych do spotkania warunków. Dla ludzi takich jak pan de Charlus — z uwzględnieniem kompromisów, które okażą się stopniowo i które już można było przeczuć, kompromisów narzucanych przez potrzebę rozkoszy godzącą się na połowiczne przyzwolenie — miłość wzajemna, do trudności tak wielkich, czasem niezwykłych, z jakimi się spotyka u ogółu istot, przydaje trudności tak specjalne, że to, co jest zawsze bardzo rzadkie dla wszystkich, staje się u tych ludzi prawie niemożliwe; jeżeli zaś się im zdarzy spotkanie naprawdę szczęśliwe lub które natura ukaże im jako takie, szczęście ich, o wiele bardziej jeszcze niż szczęście normalnego kochanka, ma coś nadzwyczajnego, wybranego, głęboko koniecznego. Nienawiść Kapuletów i Montekich była niczym wobec wszelkiego rodzaju przeszkód, jakie trzeba było zwyciężyć, specjalnych eliminacji, jakim natura musiała poddać dość już niezwykle przypadki sprowadzające miłość, zanim eks-krawiec, wybierający się cnotliwie do biura, zachwiał się, olśniony, wobec otyłego pięćdziesięciolatka; taki Romeo i taka Julia słusznie mogą mniemać, że ich miłość nie jest kaprysem chwili, ale prawdziwym przeznaczeniem przygotowanym przez harmonię ich natur, nie tylko ich własnych, ale także natur ich przodków, przez najodleglejsze dziedziczności, tak że istota, która się parzy z nimi, należy do nich przed urodzeniem, ściągnęła ich siłą podobną sile poruszającej światy, w których spędziliśmy poprzednie nasze żywoty.

Pan de Charlus oderwał mnie od śledzenia, czy bąk przyniósł orchidei pyłek, którego oczekiwała od tak dawna, a który miała szanse uzyskać jedynie dzięki przypadkowi tak nieprawdopodobnemu, że można by go nazwać rodzajem cudu. Ale to, czego byłem świadkiem, to także był cud, sprawiony przez tego samego niemal geniusza i nie mniej cudowny. Z chwilą gdy spojrział na owo spotkanie z tego punktu widzenia, wszystko mi się w nim wydawało nasycone pięknem. Natura wymyśliła najniezwyklejsze chytryści, aby zmusić owady do zapładniania kwiatów, które bez nich byłoby niemożliwe, gdyż kwiat męski zbyt jest odległy od żeńskiego; jeśli to wiatr ma zapewnić przeniesienie pyłku, natura czyni ów pyłek o wiele łatwiejszym do odczepienia od męskiego kwiatu, o wiele łatwiejszym do pochwylenia w locie przez kwiat żeński; natura usuwa wydzielanie nektaru (zbyteczne, kiedy już nie potrzeba wabić owadów), a nawet blask płatków, które je nęca; aby zachować kwiat dla właściwego pyłku, zdolnego wydać owoc jedynie z nim, każe mu wydzielac ciecz uodporniającą go na inne pyłki; ale wszystko to wydało mi się nie bardziej cudowne niż istnienie grupy zboczeńców przeznaczonych dla rozkoszy starzejącego się zboczeńca; mężczyzn, których przyciągają nie wszyscy mężczyźni, ale — przez fenomen zgodności i harmonii, dający się porównać z tym, który reguluje zapłodnienie

u kwiatów o szyjkach trójdzielnych jak *Lythrum salicaria* — jedynie mężczyźni o wiele starsi od nich. Przykładem tej grupy stał się dla mnie Jupien; przykładem zresztą mniej zdumiewającym od innych, które wszelki herborysta ludzki, wszelki botanik moralny zdoła zaobserwować mimo ich rzadkości, a których im nastęrczy wiotki efeb, wyczekujący zalotów krzepkiego i otylego pięćdziesięciolatka, równie obojętny na zaloty innych młodych ludzi, jak jałowymi pozostają obupłciowe krótkoszyjkowe kwiaty *Primula veris*, dopóki je zapładniają jedynie inne *Primula veris* również krótkoszyjkowe, podczas gdy z radością przyjmują pyłek *Primula veris* o długiej szyjce.

Co do samego pana de Charlus zdałem sobie sprawę w dalszym ciągu, że dla niego istnieją rozmaite rodzaje skojarzenia. Niektóre przez swoją mnogość, przez swoją ledwie widoczną błyskawiczność, a zwłaszcza przez brak styczności pomiędzy dwoma uczestnikami bardziej jeszcze przypominały owe kwiaty zapłodnione gdzieś w ogrodzie przez pyłek sąsiedniego kwiatu, którego nie dotkną nigdy. Były w istocie niektóre istoty, które wystarczyło mu ściągnąć do siebie, trzymać je przez kilka godzin pod władzą swojego słowa, iżby jego pragnienie, obudzone jakimś spotkaniem, uśmierzyło się. Za pomocą prostych słów sparzenie dokonywało się równie po prostu, jak się może spełniać u wymoczków. Czasami, jak mu się to z pewnością zdarzyło ze mną owego wieczoru, kiedy mnie wezwał do siebie po obiedzie u państwa de Guermites, zaspokojenie nastąpiło dzięki gwałtownemu wybuchowi, jakim baron bryznął w twarz swego gościa, jak niektóre kwiaty, dzięki specjalnej sprężynce, skraplają na odległość owada, czyniąc go nieświadomie swoim zdumionym partnerem. Pan de Charlus, z owładniętego stawszy się władcą uwalniał się od swego wyruszenia i, uspokojony, odprawiał gościa, który natychmiast przestał mu być pożądanym. Wreszcie sama inwersja, ponieważ pochodzi stąd, że zboczeniec zbyt podobny jest do kobiety, aby z nią mógł wejść w skuteczne stosunki, wiąże się przez to z najwyższym prawem, sprawiającym, że tyle obupłciowych kwiatów pozostaje niezapłodnionych — to znaczy z jałowością samozapłodnienia. Prawda, iż zboczeńcy poszukujący samca zadowolają się często zboczeńcem równie zniewieściałym jak oni. Ale wystarczy, że nie należą do płci żeńskiej, której oni mają w sobie bezpożytecznego embriona, co się zdarza tylu obupłciowym kwiatom, a nawet niektórym obupłciowym zwierzętom — jak na przykład ślimak — które nie mogą zapłodnić się same, ale mogą być zapłodnione przez innych obojnaków. Przez to pederasty, którzy się radzi powołują na starożytny Wschód lub na złoty wiek Grecji, sięgaliby dalej jeszcze, owych próbnych epok, gdy nie istniały ani kwiaty rozdzielnopłciowe, ani zwierzęta jednopłciowe, do tego pierwotnego obojactwa, którego ślad zdają się przechowywać szczątki męskich organów w budowie kobiety, a żeńskich w budowie mężczyzny.

Mimika Jupiena i pana de Charlus, zrazu dla mnie niezrozumiała, wydała mi się równie ciekawa jak owe kuszące gesty zwracane do owadów, wedle Darwina, nie tylko przez kwiaty tak zwane złożone, wznoszące obrzeżne kwiaty swoich główek, iżby były widzialne z dalsza, jak pewien kwiat różnoszyjkowy, który odchyła pręciki i zgina je, aby utorować drogę owadom, lub który ofiarowuje im kąpiel; po prostu do zapachów nektaru, do blasku płatków ściągających w tej chwili owady w dziedziniec.

Począwszy od tego dnia pan de Charlus miał zmienić godzinę swoich wizyt u pani de Villeparisis; nie dlatego, aby nie mógł wygodniej widywać Jupiena gdzie indziej, ale ponieważ dla niego — jak i dla mnie — popołudniowe słońce i kwiaty związały się z pewnością z jego wspomnieniem. Zresztą baron nie ograniczył się do tego, że polecił Jupienów pani de Villeparisis, księżnej de Guermites, całej świetnej klienteli, która popędziła skwapliwie do młodej hafciarki, zwłaszcza iż damy, które się opierały lub bodaj ociagały, stały się przedmiotem straszliwych represji barona bądź dla przykładu, bądź że obudziły wściekłość pana de Charlus, przeciwstawiając się jego żądzy panowania. Baron uczynił posadę Jupiena coraz bardziej lukratywną, aż go wziął ostatecznie za sekretarza i stworzył mu byt w warunkach, które poznamy później.

— Ha! ha! Ten ci ma szczęście, ten Jupien — mówiła Franciszka, zawsze skłonna pomniejszać lub przeceniać dobrodziejstwa wedle tego, czy tyczyły jej samej, czy innych. Zresztą nie potrzebowała tutaj przesady ani nie czuła zazdrości, bo Franciszka szczerze lubiła Jupiena. — Ha! To taki dobry człowiek ten baron — dodawała — taki grzeczny, taki nabożny, taki przyzwoity. Gdybym miała córkę do wzięcia i gdybym była z bogaczy, dałabym ją baronowi z zamkniętymi oczami.

— Ale, Franciszko — mówiła łagodnie matka — dużo mężów miałaby ta córka. Pamiętaj, że już ją przyrzekłaś Jupienowi.

— A! To także człowiek, który dałby szczęście kobiecie. Tak, tak, choć są na świecie bogacze i biedacy, to nie zmienia natury w człowieku. Baron i Jupien to ten sam rodzaj ludzi.

Zresztą, w obliczu owego pierwszego odkrycia, bardzo wówczas przesadziłem indywidualny charakter tak dobranej sparzenia. Zapewne, każdy z mężczyzn podobnych panu de Charlus jest istotą nadzwyczajną, skoro, o ile nie robi ustępstw wymaganiom życia, szuka zasadniczo miłości mężczyzny z innej rasy, to znaczy mężczyzny lubiącego kobiety (i który tym samym nie będzie go mógł pokochać); wbrew temu, co sądziłem w dzieciństwie, kiedy widział Jupiena kręcącego się koło pana de Charlus na kształt orchidei robiącej awanse bąkowi, owych wyjątkowych istot, nad którymi się ubolewa, jest mnóstwo, jak się okaże w ciągu tego dzieła, z racji, którą odsłonimy aż na końcu. Oni sami skarżą się raczej na nadmiar niż na niedostatek podobnych sobie. Bo dwaj aniołowie, których umieszczono u bram Sodomy dla sprawdzenia, czy mieszkańcy — powiada Genesis — w pełni uczynili wszystkie te rzeczy, których krzyk wzbił się aż do Przedwiecznego, byli, z czego się tylko można ucieszyć, bardzo źle wybrani przez Pana, który powinien był to zadanie powierzyć jedynie sodomicie. Ten by nie opuścił płomiennego miecza ani nie złagodził kary wobec wymówki: „Jestem ojcem sześciorga dzieci, mam dwie kochanki” itd., ale odpowiedziałby na to: „Tak, ale żona twoja cierpi męki zazdrości. Ale nawet jeżeli tych kobiet nie wybrałeś w Gomorze, spędzasz noce z pastuchem z Hebronu”. I zawróciłby go natychmiast do miasta, które miał zniszczyć deszczem ognia i siarki. Przeciwnie, pozwolono uciec wszystkim wstydliwym sodomitom, nawet gdy na widok młodego chłopca odwracali głowę jak żona Lota, nie zmieniając się dlatego w słup soli. Tak iż mieli liczne potomstwo, w którym ten gest pozostał nałogowy, podobny do gestu rozwiązłych kobiet, które — udając, że patrzą na buciki wystawione za szybą — zerkają w stronę jakiegoś studenta. Ci potomkowie sodomitów — tak liczni, że można do nich zastosować inny werset Księgi Rodzaju: „Jeżeli ktoś potrafi zliczyć proch ziem, i potrafi też zliczyć to potomstwo” — osiedlili się po całej ziemi, weszli do wszystkich zawodów i wcisnęli się tak skutecznie do najbardziej zamkniętych klubów, że — kiedy sodomitę zbalotują — czarne gałki pochodzą przeważnie od sodomitów, ale takich, co gorliwie potępiają sodomie, jako że odziedziczyli kłamstwo, które pozwoliło ich przodkom opuścić to przeklęte miasto. Możliwe jest, że wrócą do niego kiedyś. To fakt, że tworzą we wszystkich krajach trącącą Wschodem kolonię — kulturalną, muzykalną, plotkarską — mającą urocze przymioty i nieznośne wady. Poznamy ich nieco głębiej w dalszych kartach tego dzieła, ale chcieliśmy prowizorycznie uprzedzić oplakany błąd, który polegałby na tym, aby, tak samo jak wzniecono ruch syjonistyczny, stworzyć ruch sodomicki i odbudować Sodomę. Otóż, zaledwie tam przybywszy, sodomici opuściliby miasto, aby nie uchodzić za jego mieszkańców, poženiliby się, trzymaliby sobie kochanki w innych miastach, gdzie by zresztą znaleźli wszystkie pożądane rozrywki. Udawaliby się do Sodomy jedynie w dniach ostatecznej konieczności, kiedy ich miasto byłoby puste, w owych czasach, kiedy głód wypędza wilki z boru, to znaczy, że wszystko działałoby się w rezultacie tak, jak się dzieje w Londynie, w Berlinie, w Rzymie, w Petersburgu lub w Paryżu.

W każdym razie, tego dnia, przed swoją wizytą u księżnej, nie patrzyłem tak daleko i byłem w rozpacz, że, pochłonięty sparzeniem się Jupiena z Charlusem, straciłem może widok zapłodnienia kwiatu przez bąka.

## *Sodoma i Gomora*

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM PIERWSZY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Charlus w towarzystwie. — Lekarz. — Fizjonomia pani de Vaugoubert. — Pani d'Arapajon, wodotrysk Huberta Robert i wesolość Wielkiego księcia Włodzimierza. — Pani d'Amoncourt, de Citri, pani de Saint-Euverte, etc. Ciekawa rozmowa Swanna z księciem Gilbertem. — Albertyna przy telefonie. Wizyty przed moim drugim i ostatnim pobylem w Balbec. — Przybycie do Balbec. — Wahania serca.*

Ponieważ nie było mi pilno na wieczór u księstwa Gilbertów, zwłaszcza przy niepewności czy jestem proszony, stałem beczynnie na dworze; ale letni dzień, tak samo jak i ja, nie kwapił się ruszyć z miejsca. Mimo iż było już po dziewiątej, wciąż jeszcze dawał luksorskiemu obeliskowi na placu Zgody odcień różowego nugatu. Potem zmienił jego barwę, przeobrażając go w jakiś metal, tak że obelisk stał się nietylko cenniejszy, ale wydawał się jakby smuklejszy i prawie giętki. Miało się wrażenie, że możnaby go skrócić w rękę, że już może lekko wygięto to cacko. Księżyc wyglądał teraz na niebie niby ćwiartka pomarańczy, delikatnie obranej, mimo że trochę napoczętej. Ale niebawem miał się zmienić w najtwardsze złoto. Przycupnięta za nim, biedna mała gwiazdka służyła za jedyłą towarzyszkę samotnej Lunie, gdy ta, osłaniając przyjaciółkę ale śmieiej sunąc naprzód, wznosiła jak nieodpartą broń, jak wschodni symbol, swój duży i cudowny złoty sierp.

Przed pałacem księżnej Marii de Guermantes spotkałem księcia de Châtellerault; nie pamiętałem już, że pół godziny temu prześladowała mnie obawa — mająca mnie zresztą niebawem znów ogarnąć — że przychodzę nie zaproszony. Człowiek niepokoi się, i często w długi czas po niebezpieczeństwie, zapomnianem dzięki roztargnieniu, przypomina sobie swój niepokój. Przywitałem się z młodym księciem i wszedłem do pałacu. Ale tutaj trzeba mi zanotować drobną okoliczność, pozwalającą zrozumieć fakt, który opiszę niebawem.

Był ktoś, kto tego wieczora (jak i poprzednich dni) dużo myślał o księciu de Châtellerault, nie domyślając się zresztą kim jest. Człowiekiem tym był szwajcar (nazywało się go w owej epoce „l'aboyeur”) księżnej Gilbertowej. Pan de Châtellerault, nie należący do najbliższych księżnej Marii — mimo że zresztą jej kuzyn — miał być w jej salonie pierwszy raz. Rodzice jego, poróżnieni od lat dziesięciu z księżną, pogodzili się z nią od dwóch tygodni, a nie mogąc tego wieczora być w Paryżu, polecili synowi aby ich reprezentował. Otóż, na kilka dni przedtem, kamerdyner księżnej Marii spotkał na Polach Elizejskich młodego człowieka, który go oczarował, ale którego tożsamości nie zdołał ustalić. Młody człowiek okazał się równie miły jak hojny; wszystkie fawory, których kamerdyner gotował się użyczyć tak młodemu paniczowi, przypadły, wręcz przeciwnie, w udziale jemu samemu. Ale pan de Châtellerault był równie płochliwy jak nieostrożny; nie miał żadnej ochoty zdradzać swego incognito, nie wiedząc z kim ma do czynienia; a gdyby wiedział, strach jego — mimo że nieuzasadniony — byłby jeszcze o wiele większy! Udawał tedy poprostu Anglika, i na wszystkie namiętne pytania famulusa, pragnącego kiedyś odnaleźć człowieka, któremu zawdzięczał tyle rozkoszy i darów, ksiączę powtarzał jedynie przez całą avenue Gabriel: — *I do not speak french.*

Jakkolwiek, mimo wszystko — z powodu macierzystych parantel kuzyna — ksiączę Błażej udawał, że znajduje w salonie księżnej Guermantes Baviere coś ze stylu „Courvoisier”, szacowano powszechnie inicjatywę i inteligencję tej damy wedle pewnej inowacji, której nie spotykało się nigdzie indziej w tej sferze. Po obiedzie mianowicie, jakiegokolwiek miały być rozmiary wieczornego rautu, ustawiano u księżnej Marii krzesła w ten sposób, że powstawały małe grupki gości, często odwróconych do siebie plecami. Księżna dawała wówczas wyraz swojej inwencji towarzyskiej, przysiadając się, niby to specjalnie, do którejś z takich grup, dokąd nie lękała się zresztą ściągnąć kogoś z innej grupy. Zwróciwszy naprzykład uwagę pana Detaille — z jego oczywistą aprobatą — na ładną szyję pani de Villemur, siedzącej w innym kółku i odwróconej plecami, księżna nie wahała się rzec głośno: „Pani de Villemur, pan Detaille, wielki malarz, podziwia właśnie pani szyję”. Pani de Villemur pojmowała to jako zaproszenie do rozmowy; ze zręcznością wytrawnej

amazonki obracała z wolna krzesło o trzy czwarte koła i nie deranzując sąsiadów siadała prawie wprost twarzą do księżnej. „Pani nie zna pana Detaille?” pytała pani domu, której nie wystarczyło zręczne i dyskretne wciągnięcie gościa do rozmowy. „Nie znam jego samego, ale znam jego dzieła” — odpowiadała pani de Villemur tonem pełnym szacunku i zachęty, równocześnie, z przytomnością umysłu, którą wielu podziwiała, zwracając niedostrzegalny ukłon w stronę sławnego malarza (mimo iż zainterpelowanie go przez księżnę nie mogło uchodzić za formalną prezentację).

— Niech pan przejdzie do nas, panie Detaille, przedstawię pana pani de Villemur.

Wówczas dama ta rozwijała tyle inwencji w zrobieniu miejsca autorowi *Marzenia*, ile jej okazała przed chwilą w tem aby się zwrócić do niego. I księżna przysuwała sobie krzesło; w istocie zagadnęła panią de Villemur jedynie poto, aby mieć pretekst opuszczenia pierwszej grupy, (spędziwszy w niej przepisowe dziesięć minut) i aby przyznać ten sam okres czasu drugiej grupie. W trzy kwadransie zaszczyciła wszystkie grupy swoją wizytą, za każdym razem jakby wynikłą ot tak, niespodzianie, z upodobań księżnej, ale zwłaszcza mającą uwydatnić swobodę, z jaką wielka dama umie przyjmować.

Ale teraz goście wieczorni zaczęli napływać i pani domu usiadła niedaleko wejścia — wyprostowana i dumna, w majestacie niemal królewskim, z oczami płonącymi własnym żarem — między dwiema brzydkimi księżniczkami krwi i ambasadorką hiszpańską.

Stałem w ogonku za kilkoma osobami przybyłymi przedemną; miałem naprost siebie księżną Marję. Nie sama tylko jej piękność — wśród tylu piękności — utrwaliła mi wspomnienie tej fety. Ale twarz pani domu była tak doskonała, była niby piękny medal, tak iż zachowała dla mnie wartość jakby pamiątkową. Księżna miała zwyczaj mówić do osób, które spotkała na kilka dni przed swoim rautem: „Przyjdzie pan (albo pani), prawda?” tak jakby pragnęła porozmawiać z nimi. Ale ponieważ, przeciwnie, nie miała im nic do powiedzenia, przeto, z chwilą gdy się zjawili przed nią, przerywała jedynie na chwilę, nie wstając, bląhą rozmowę z dwiema księżniczkami krwi i z ambasadorką i dziękowała, mówiąc: „To bardzo ładnie z pana (pani) strony”... Nie aby uważała, że gość, przychodząc, dał dowód uprzejmości, ale aby podkreślić własną uprzejmość; poczem, ciskając go z powrotem w rękę, dodawała zaraz: „Zastanie pan księcia Gilberta u wejścia do ogrodu”, tak że gość szedł zwiedzać i zostawiał ją w spokoju. Niektórym nawet nie mówiła nic, pokazując im poprostu — swoje cudowne onyksowe oczy, tak jakby się przyszło jedynie na wystawę drogich kamieni.

Najbliższą osobą, mającą wejść tuż przedemną, był książę de Châtellerault.

Zmuszony odpowiadać na wszystkie uśmiechy, na wszystkie skinienia dłoni, które płynęły ku niemu z salonu, młody książę nie zauważył kamerdynera; ale ten poznał go odrazu. Za chwilę miał usłyszeć nazwisko, które tak pragnął poznać. Pytając przedwczorajszego „Anglika” jak go ma oznajmić, lokaj był nietylko wzruszony, ale czuł się niedyskretny, niedelikatny. Miał wrażenie, że zdradzi całemu światu (nie domyślającemu się absolutnie niczego) sekret, który ośmiela się oto podchwycić i ogłosić publicznie. Słyszając odpowiedź gościa: „Książę de Châtellerault”, uczuł przypływ takiej dumy, że na chwilę oniemiał. Książę spojrział nań, poznał, uczuł się zgubiony, podczas gdy kamerdyner, który opamiętał się a znał na tyle herbarz aby sam z siebie dopełnić zbyt skromne nazwanie, ryczał z zawodową energią, łagodząc ją puszką sekretnej tkliwości: „Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę de Châtellerault!”

Ale teraz przyszła kolej na mnie. Pogrążony w kontemplacji pani domu, która mnie jeszcze nie spostrzegła, nie pomyślałem o strasznych dla mnie — mimo że na inny sposób niż dla pana de Châtellerault — funkcjach tego kamerdynera, ubranego czarno jak kat, otoczonego zgrają lokajów w najkolorowszych liberjach, tęgich chwatów gotowych chwycić intruza i wyrzucić go za drzwi. Kamerdyner spytał mnie o nazwisko; wymieniłem je równie machinalnie jak skazany na śmierć daje się przywiązać do pieńka. Podniósł natychmiast majestatycznie głowę i zanim mogłem go prosić aby mnie oznajmił niezbyt głośno — celem oszczędzenia mojej miłości własnej w razie gdybym nie był zaproszony, oraz miłości własnej księżnej Gilbertowej w razie gdybym nim był — wyryczał niepokojące zgłoski z siłą zdolną wstrząsnąć sklepieniem pałacu.

Znakomity Huxley (ten, którego bratanek zajmuje obecnie wybitne stanowisko w literaturze angielskiej) opowiada, że jedna z jego pacjentek bała się zjawić w towarzystwie, bo często w fotelu, który jej wskazywano uprzejmym gestem, widziała siedzącego star-

szego pana. Była zupełnie pewna, że bądź uprzejmy gest, bądź obecność starszego pana są halucynacją, bo nie wskazano jej przecie fotela już zajętego! I kiedy, pragnąc ją wyleczyć, Huxley zmusił ją aby poszła na jakieś przyjęcie, miała chwilę przykrego wahania, zadając sobie pytanie czy uprzejmy gest, jakim jej wskazywano krzesło, jest rzeczą realną, lub też czy, ulegając swemu urojeniu, siądzie publicznie na kolanach bardzo realnego jegomościa. Ta chwila niepewności była dla niej czemś bardzo okrutnym; ale moja niepewność była może jeszcze dotkliwsza. Z chwilą gdy usłyszał grzmot swego nazwiska, niby wróżbę możliwego kataklizmu, musiałem (aby stwierdzić bodaj swoją dobrą wiarę, i tak jakby mnie nie dręczyła żadna wątpliwość) posunąć się ze zdecydowaną miną do pani domu.

Spostrzegła mnie, kiedy byłem o kilka kroków, i — co mi już nie zostawiło żadnej wątpliwości iż padłem ofiarą intrygi — zamiast siedzieć w miejscu jak dla innych gości, wstała i podeszła do mnie. W sekundę później, mogłem wydać westchnienie ulgi, niby pacjentka Huxleya, kiedy, zdecydowawszy się usiąść w fotelu, przekonała się że jest wolny i zrozumiała że to starszy pan był halunacją. Księżna wyciągnęła do mnie rękę z uśmiechem. Stała przez chwilę z wdziękiem właściwym stancy Malherbe'a, która się kończy tak:

I ażeby ich uczyć, aniołowie wstają.

Przeprosiła mnie, że księżnej Oriany jeszcze nie ma, tak jakbym ja się musiał nudzić bez niej. Aby się ze mną przywitać, wykonała dokoła mnie, trzymając mnie za rękę, pełen gracji obrót, w którego wir uczulem się porwany. Spodziewałem się niemal, że mi wręczy w tej chwili, niby danserka prowadząca kotyliona, laseczkę z rączką z kości słoniowej lub zegarek z bransoletką. Ale nie dała mi nic, i tak jakby zamiast tańczyć bostona, słuchała raczej przenaajświętszego kwartetu Beethovena, bojąc się zmacić jego podniosłe akcenty, urwała rozmowę — lub raczej nie zaczęła jej — i jeszcze rozpromieniona moim widokiem, uprzedziła mnie jedynie, gdzie się znajduje książę Gilbert.

Oddaliłem się od księżnej i nie śmiałem się już zbliżyć, czując że mi nie ma absolutnie nic do powiedzenia i że, w ogromie swojej dobrej woli, ta cudownie wyniosła i piękna kobieta, szlachetna szlachetnością owych wielkich dam, co tak dumnie niegdyś wstępowały na szafot, mogłaby tylko — nie śmiać mi ofiarować szklanki lemoniady — powtórzyć to, co mi już powiedziała dwa razy: „Zastanie pan księcia w ogrodzie”. Otóż, iść przywitać księcia Gilberta, znaczyło dla mnie czuć odradzające się pod inną formą niedawne obawy.

W każdym razie, trzeba było znaleźć kogoś, ktoby mnie przedstawił. Słysząc było — górującą nad wszystkimi rozmowami — nieustającą paplaninę pana de Charlus, rozmawiającego z J. E. księciem Sidonia, którego baron poznał przed chwilą. Wspólne zawody odgadują się, wspólne wady także. Pan de Charlus i pan de Sidonia z punktu zwięzłyli wzajem swoją wspólną wadę, potrzebę nieustającego monologu — przyczem żaden z nich nie cierpiał najmniejszego przerywania. Osądziliśmy natychmiast, że — jak powiada słynny sonet — zło jest bez ratunku, postanowili obaj nie milczeć ale mówić, nie troszcząc się o to co może powiedzieć drugi. To spowodowało ów charakterystyczny zgiełk, podobnie jak w komedjach Moliera, gdy kilka osób mówi równocześnie, a każda co innego. Dzięki swemu donośnemu organowi, baron był zresztą pewny, że przygłuszy i pokryje wąty głos pana de Sidonia; ale nie zdołał zniechęcić swego partnera, bo gdy p. de Charlus chwycił na chwilę oddech, wypełniał przerwę szmer granda hiszpańskiego, który niezmaczenie mówił dalej. Byłbym chętnie poprosił pana de Charlus, aby mnie przedstawił księciu Gilbertowi, ale bałem się aż nazbyt słusznie, że baron gniewa się na mnie. Zachowałem się najniewdzięczniejszemu w świecie, pozostając drugi raz głuchy na jego propozycje i nie dając znaku życia od owego wieczoru, kiedy mnie tak serdecznie odwiedził do domu. A przecież scena między Jupienem a baronem, którą widziałem tegoż popołudnia, nie mogła mi służyć wstecz za wymówkę. Nie podejrzewałem nic podobnego. Prawda iż niedawno, kiedy rodzice wyrzucali mi lenistwo i to żem sobie nie zadał jeszcze trudu napisania słówka do pana de Charlus, wypomniałem im gwałtownie, iż chcą, abym przyjął hańbiące propozycje. Ale jedynie gniew, chęć znalezienia zwrotu najprzykrzejszego dla rodziców, podyktowały mi tę kłamliwą odpowiedź. W rzeczywistości nie wyobrażałem sobie nic zmysłowego ani nawet sentymentalnego w propozycjach baro-



na. Rzuciłem to rodzicom jako czysty absurd. Ale czasami przyszłość mieszka w nas bez naszej wiedzy i słowa nasze, myśląc że kłamia, kreślą bliską rzeczywistość.

P. de Charlus byłby mi prawdopodobnie wybaczył brak wdzięczności. Ale moja obecność u księżnej Marji — jak od pewnego czasu moje wizyty u jej kuzynki — przyprawiała go o wściekłość; zdawała się urągać uroczystemu oświadczeniu barona: „Nikt nie dostanie się do tych salonów bez mojej woli”. Popelnilem poważny błąd, zbrodnię może nie do darowania, nie trzymając się uświęconej drogi. P. de Charlus wiedział, że gromy, jakie miotał na tych, co się nie uginali pod jego rozkazami lub mieli nieszczęście obudzić jego nienawiść, zaczynały tracić siłę; zdaniem wielu osób, zmieniały się, mimo wściekłości jaką w to baron wkładał, w gromy teatralne, nie zdolne już wypędzić kogokolwiek skądkolwiek. Ale może sądził, iż jego władza — uszczuplona, ale jeszcze wielka — zachowała swoją moc w oczach nowicjusów takich jak ja. Toteż nie uważałem za bezpieczne prosić barona o przysługę na tem zebraniu, gdzie sama moja obecność mogła się wydać ironicznym zaprzeczeniem jego pretensyj.

Zatrzymał mnie w tej chwili człowiek dość pospolity, profesor E... Zdziwił się, że mnie spotyka u Guermantów. Ja zdziwiłem się jeszcze bardziej, bo nigdy nie widziano dotąd — i nie ujrano później — u księżnej Marji figur tego rodzaju. Profesor wyleczył niedawno księcia Gilberta, już opatrzonych Sakramentami, z infekcyjnego zapalenia płuc; szczerą wdzięczność księżnej Marji sprawiła, że przełamano zwyczaj i zaproszono lekarza. Ponieważ nie znał absolutnie nikogo w tych salonach a nie mógł krążyć bez końca samotnie niby poseł śmierci, poznawszy mnie, uczuł — po raz pierwszy w życiu — że ma mi niezliczoną ilość rzeczy do powiedzenia, co mu pozwalało nabrać kontenansu. To była jedna z przyczyn, dla których zbliżył się do mnie. Była również i inna. Profesor miał tę ambicję, że się nigdy nie myli w diagnozie. Otóż skorowidz jego klienteli był tak obfity, że nie zawsze przypominał sobie dokładnie (jeśli tylko raz widział chorego), czy choroba poszła tą drogą, jaką on jej wyznaczył. Czytelnik pamięta może, że w chwili ataku babki, zaprowadziłem ją do profesora T... owego wieczora, kiedy sobie kazał przyszywać tyle orderów. Po tak długim czasie nie przypominał już sobie zawiadomienia o śmierci, które mu posłano.

— Szanowna babcia pańska umarła zapewne? — rzekł głosem, w którym zupełna niemal pewność pokrywała lekką obawę. — A! W istocie! Zresztą, od pierwszej minuty kiedy ją ujrzałem, prognoza moja była najzupełniej ujemna, przypominam sobie doskonale.

W ten sposób, profesor E... dowiedział się lub przypomniał sobie o śmierci babki, i muszę to rzec na jego chwałę — zarazem na pochwałę całego ciała lekarskiego — dowiadując się o tem nie zdradził satysfakcji, nie odczuł jej może. Błędy lekarzy są niezliczone. Grzeszą oni zazwyczaj optymizmem co do terapii, pesymizmem co do wyniku. „Wino? w umiarkowanej ilości nie może zaszkodzić; ostatecznie to jest środek tonizujący... Kobiety? Ostatecznie, to jest funkcja organizmu. Pozwalam panu... bez nadużyć, rozumie pan. Nadmiar jest we wszystkim szkodliwy”. I odrazu cóż za pokusa dla chorego, odstąpić od tych dwóch źródeł zdrowia — wody i czystości. W zamian za to, jeżeli chory ma coś w sercu, białko, etc. — oho! nie pociągnie długo. Z zaburzeń poważnych ale funkcjonalnych lekarz chętnie wnosi o nieistniejącym raku. Daremne byłoby odwiedzać chorego, skoro wizyty lekarza nie zdołałyby powściągnąć nieubłaganej choroby. I kiedy chory, pozostawiony samemu sobie, nałoży sobie surowy tryb życia i wyleczy się lub bodaj przetrwa, lekarz, spotkawszy go na *avenue de l'Opéra*, kiedy sądził że on od dawna spoczywa na *Père Lachaise*, dojrzy w ukłonie byłego pacjenta gest drwiącego zuchwałstwa. Wyobraźmy sobie oburzenie prezesa sądu karnego, który dwa lata temu wydał na bandytę wyrok śmierci, a obecnie spotyka go spacerującego najspokojniej! Lekarze (nie mówię tu oczywiście o wszystkich i nie zapominam o wspaniałych wyjątkach) są przeważnie bardziej zirytowani, bardziej podrażnieni naruszeniem ich werdyktu, niż radzi z jego spełnienia. Co tłumaczy, że profesor E..., mimo całego zadowolenia intelektualnego jakie musiał odczuć że się nie omylił, zdołał jednak mówić ze smutkiem o nieszczęściu które nas spotkało. Nie starał się skrócić rozmowy, która mu dawała punkt oparcia, rację pozostania dłużej w salonie. Mówił o upałach, jakie panowały w tych dniach, ale mimo że odczytany i umiejący się dobrze wysławiać, rzekł: „Czy pan nie cierpi od tej hiper-

termi?” Bo medycyna zrobiła od czasu Moliere pewne postępy w wiedzy, ale żadnego w słownictwie. Doktor dodał:

— Trzeba zwłaszcza unikać sudacji, którą podobny czas powoduje, zwłaszcza w przegrzanych salonach. Może pan temu przeciwdziałać, kiedy pan wróci do domu i będzie pan miał ochotę pić, zapomocą ciepła (co oznaczało oczywiście gorące napoje).

W związku z chorobą na którą umarła babka, przedmiot ten interesował mnie; przeczytałem niedawno w dziele wielkiego uczonego, że pocenie się działa szkodliwie na nerki, usuwając przez skórę materje, które powinny się wydzielać inną drogą. Ubolewałem nad kanikularnym czasem, w który umarła babka i dość byłem skłonny przypisywać mu owo nieszczęście. Nie wspominałem o tem doktorowi E..., ale on rzekł sam z siebie: „Upały powodujące obfite poty, mają tą zaletę, że pocenie się odciąża nerki”. Medycyna nie jest wiedzą ścisłą!

Uczepiwszy się mnie, profesor E... nie miał ochoty mnie opuścić. Ale ja spostrzegłem margrabiego de Vaugoubert: składał właśnie księżnej Marji głębokie ukłony z prawa i lewa, cofnąwszy się uprzednio o krok. P. de Norpois zapoznał mnie z nim niedawno; miałem tedy nadzieję, że znalazł kogoś, kto mnie będzie mógł przedstawić panu domu. Rozmiary tego dzieła nie pozwalają mi wytłumaczyć, naskutek jakich wydarzeń młodości p. de Vaugoubert, jeden z niewielu ludzi „z towarzystwa” (może jedyny), był — jak się to nazywa w Sodomie — „w konfidencji” z panem de Charlus. Ale jeżeli nasz ambasador przy królu Teodozjuszu miał pewne wspólne przywary z baronem, były one jedynie czemś w rodzaju bardzo bladego odbicia. Owe kolejne ataki sympatji i nienawiści, w jakie wprawiała barona chęć oczarowania, a potem obawa — równie urojona — że będzie jeżeli nie shańbiony, to bodaj odkryty, przybierały u p. de Vaugoubert formę nieskończenie łagodniejszą, sentymentalną i głupią. Vaugoubert zdradzał te same wahania, ale były one raczej śmieszne wskutek jego czystości, „platonizmu” (dla którego, będąc nader ambitny, od czasów uniwersyteckich poświęcił wszelką przyjemność), a zwłaszcza wskutek jego nicości umysłowej. Ale gdy baron wybuchał przesadnymi pochwałami z prawdziwym przepychem wymowy i zaprawiał je subtelnym i gryzącym szyderstwem, zdolnym napiętnować na zawsze jego ofiarę, u pana de Vaugoubert sympatja wyrażała się przeciwnie z banalnością człowieka miernego, światowca i urzędnika, a pretensje (zwykle całkowicie urojone, jak u barona) objawiały się niezyczliwością stałą ale wycutą z dowcipu i tem bardziej rażącą, że była zazwyczaj w sprzeczności z tem co ambasador mówił pół roku wprzód i co miał może znów mówić za jakiś czas: ta regularność w zmienności dawała rozmaitym fazom życia pana de Vaugoubert poezję niemal astronomiczną, mimo że pozatem najmniej przypominał gwiazdę.

Uklon, jaki mi oddał p. de Vaugoubert, nie miał nic wspólnego z przypuszczalnym ukłonem pana de Charlus. W powitanie to, p. de Vaugoubert, prócz tysiąca mizdrzeń w jego mniemaniu wielkoświatowych i dyplomatycznych, wkładał jakąś dziarskość, lekkość, uśmiech, tak aby się wydawał z jednej strony zadowolony z życia — wówczas gdy przeżuwał zawody karjery bez przyszłości, pod grozą spensjonowania — z drugiej młody, męski i uroczy. W rzeczywistości nie śmiał już nawet oglądać w lustrze zmarszczek gromadzących się na twarzy, którą pragnąłby zachować pełną pokus! Nie iżby łaknął faktycznych zdobyczy, o których sama myśl przerażała go z przyczyny plotek, skandalów, szantażów. Przeszedłszy od infantylnej niemal rozpusty do bezwarunkowej wstrzemięźliwości, datującej od dnia gdy zamarzył o *quai d'Orsay* i o wielkiej karierze dyplomatycznej, ambasador ów miał minę zwierzęcia w klatce, rzucającego na wszystkie strony spojrzenia pełne strachu, żądzy i otępienia. Pod wpływem tego otępienia ambasador nie zastanawiał się, iż urwisy z czasu jego młodości nie są już smarkaczami, i kiedy gazeciarz krzyczał mu w nos: *La Presse!* p. de Vaugoubert drżał nietyle z żądzy, ile z przerażenia że go poznano i odkryto.

Ale, w braku rozkoszy, poświęconych niewdzięcznemu *quai d'Orsay*, p. de Vaugoubert miał nagle porwy serca — i dlatego pragnąłby się jeszcze podobać. Bóg wie, iloma listami zamęczał ministerstwo, co za chytryści rozwijał, jak wprawiał w ruch stosunki swojej żony (którą, dla jej korpulencji, dla jej wysokiego urodzenia, męskiego wyglądu, a zwłaszcza z przyczyny mierności jej męża, uważano za osobę wybitnie uzdolnioną, za istotnego ambasadora), aby wprowadzić, bez żadnej godziwej przyczyny, jakiegoś młodego człowieka — kompletne zero — do personelu poselstwa. Prawda że w kilka miesięcy

lub w kilka lat potem, wystarczyło aby niewydarzony attaché, bez cienia złej intencji, okazał nieco chłodu swemu szefowi, a już ten, uważając to za wzgardę lub za zdradę, wkładał tę samą histeryczną żarliwość w ukaranie młodzieńca, z jaką wprzód starał się go obdarzyć. Poruszał ziemię i niebo aby odwołano młodego człowieka; wiceminister otrzymywał codziennie list: „Kiedyż mnie wreszcie uwolnicie od tego ciemiegi! Dajcie mu trochę szkoły w jego własnym interesie. Potrzebuje twardej ręki”. Stanowisko attaché przy królu Teodozjuszu było z tego powodu niezbyt przyjemne. Ale we wszystkim innym, dzięki światowemu wyrobieniu, p. de Vaugoubert był jednym z najlepszych przedstawicieli rządu francuskiego zagranicą. Kiedy człowiek rzekomo bardzo zdolny, jakobin i wszechstronnie wykształcony, zastąpił go później, rychło wybuchła wojna między Francją a zaprzyjaźnioną monarchią.

P. de Vaugoubert, jak p. de Charlus, nie lubił witać pierwszy. Obaj woleli odpowiadać na ukłon, bojąc się zawsze plotek, jakie ten, do którego inaczej byliby wyciągnęli rękę, mógł o nich słyszeć od ostatniego widzenia się. Co się mnie tyczy, p. de Vaugoubert nie potrzebował sobie zadawać tego pytania; podszedłem pierwszy, choćby dla różnicy wieku. Odkłonił mi się oczarowany, uszczęśliwiony; oczy jego biegały tak, jakby z każdej strony znajdowała się zabroniona koniczyna. Pomyślałem, że wypadaloby poprosić ambasadora, aby mnie przedstawił pani de Vaugoubert, zanim go poproszę o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi. Myśl przedstawienia mnie żonie przyjął z widoczną radością; ucieszył się tem dla siebie i dla niej i powiódł mnie zdecydowanym krokiem do margrabin. Znalazłszy się przed nią i wskazując mnie dłonią i oczyma ze wszystkimi oznakami poważania, stał mimo to niemy; po chwili oddalił się zostawiając mnie z żoną. Dama podała mi rękę, nie wiedząc jednak kogo zaszczyca tą uprzejmością; odgadłem bowiem, że p. de Vaugoubert zapomniał mego nazwiska, może nawet mnie nie poznał, a przez grzeczność, nie chcąc się przyznać do tego, sprowadził akt prezentacji do samych gestów. Toteż nie wiele mnie to posunęło naprzód: jak prosić damę, nieznającą mego nazwiska, o przedstawienie mnie panu domu! Co więcej, trzeba mi było rozmawiać chwilę z panią de Vaugoubert, co mnie męczyło z dwójakiego względu. Nie miałem ochoty zasiadywać się na tej zabawie, bo umówiłem się z Albertyną (dałem jej łóżę na *Fedre*), że przyjdzie do mnie nieco przed dwunastą. Zapewne, nie byłem wcale zakochany w Albertynie; sprowadzając ją tego wieczora, kierowałem się czysto zmysłowem pragnieniem, mimo że było to w skwarnej porze roku, kiedy wyzwolona zmysłowość chętniej nawiedza organy smaku, szukając przedewszystkiem chłodu. Bardziej niż pocałunku młodej dziewczyny, pragnie oranżady, kąpieli, oglądania wreszcie tego obranego ze skórki i soczystego księżycy, gaszącego pragnienie nieba. Bądź co bądź, spodziewałem się przy boku Albertyny — która zresztą przypominała mi chłód fal — wyzbyć się żalów, jakie mi niechybnie zostawi krąg tych uroczych twarzy, bo raut księżnej Marji był przyjęciem zarówno dla panien jak dla mężatek. Z drugiej strony, burbońska i chmurna twarz imponującej pani de Vaugoubert nie miała nic powabnego.

Mówiono mi w ministerstwie, bez cienia dwuznacznej intencji, że w tem małżeństwie mąż nosi spódnicę a żona spodnie. Otóż, było w tem więcej prawdy niż przypuszczano. Pani de Vaugoubert to był mężczyzna. Czy była zawsze taka, czy stała się taką jaką oglądałem, mniejsza; w obu wypadkach miało się do czynienia z jednym z najbardziej wzruszających cudów natury, które — drugi zwłaszcza — upodobniają królestwo ludzkie do królestwa kwiatów. W pierwszej hipotezie — jeżeli przyszła pani de Vaugoubert była zawsze tak ciężko *męska* — natura, przez djaboliczną i zbawienną chytryść, daje młodej dziewczynie zwodny wygląd mężczyzny. I młodzieniec, który stroni od kobiet a chce się uleczyć, z radością bierze narzeczoną, przypominającą mu tragarza. W przeciwnym razie, jeżeli kobieta nie ma zrazu cech męskich, nabiera ich stopniowo, aby się spodobać mężowi, bodaj nieświadomie, przez rodzaj mimetyzmu, sprawiającego, iż pewne kwiaty przybierają pozór owadów, które chcą się ściągnąć. Żal że nie jest kochana, że nie jest mężczyzną, zmęcza ją. Nawet poza wypadkiem który nas tu zaprzęta, któż nie zauważył, że najnormalniejsze stadła stają się w końcu do siebie podobne, czasem nawet wymieniają swoje przymioty. Były kanclerz niemiecki, książę Bülow, ożenił się z Włoszką. Po dłuższym czasie, zauważono na Pincio, ile germański małżonek nabrał włoskiej subtelności, a włoska księżniczka szorstkości niemieckiej. Aby wyciągnąć ostateczne konsekwencje z praw które kreślimy: każdy zna znakomitego francuskiego dyplomate, którego pocho-

dzenie odbijało się jedynie w jego nazwisku, jednym z najznakomitszych na Wschodzie. Dojrzewając, starzejąc się, odkrył w sobie człowieka Wschodu, którego nigdy się w nim nie podejrzewało, tak iż widząc go, żałuje się że nie nosi fezu, któryby go dopełnił.

Ale wróćmy do bardzo nieznanego obyczajów ambasadora, którego naszkicowaliśmy patryjarchalnie ociężałą sylwetę. Pani de Vaugoubert wcielała nabyty lub praistniejący typ, którego nieśmiertelnym obrazem jest księżniczka Palatynatu. Ta, zawsze w stroju do konnej jazdy, wzięwszy od męża więcej niż męskość, przejąwszy wady mężczyźni nie lubiących kobiet, denuncjuje w swoich plotkarskich listach stosunki, jakie uprawiają między sobą wszyscy magnaci dworu Ludwika XIV. Jedną z przyczyn, podkreślających jeszcze męskość kobiet takich jak pani de Vaugoubert, jest to, że opuszczenie w jakim je pozostawia mąż, wstyd z tego powodu, niweczą stopniowo wszystko co w nich jest kobiece. Nabierają w końcu przymiotów i wad będących przeciwstawieniem charakteru męża. W miarę jak on się robi płochy, zniewieściały, niedyskretny, one stają się niby pozbawionym wdzięku obrazem cnót, jakie powinienby mieć małżonek.

Ślady hańby, zgryzot, oburzenia, kaziły regularną twarz pani de Vaugoubert. Niestety, czułem że patrzy na mnie z zainteresowaniem i z ciekawością, jak na jednego z owych młodych ludzi, którzy się tak podobali panu de Vaugoubert i w których takby się pragnęła wcielić sama, teraz kiedy starzejący się małżonek ciągnął ku młodości. Patrzała na mnie z uwagą owych mieszkanki prowincji, które z żurnalu mój kopiują kostjum *tailleur*, tak „twarzowy” dla ładnej pani na rysunku (w istocie jednej i tej samej na wszystkich stronicach, ale rozmnożonej złudnie w wiele osób dzięki obfitości póz i różnaitości toalet). Organiczny pociąg popychający ku mnie panią de Vaugoubert był tak silny, że ujęła mnie pod ramię, abym ją zaprowadził na szklankę oranżady. Ale uwolniłem się, mówiąc że muszę niedługo iść, a nie przedstawiłem się jeszcze panu domu.

Odległość, dzieląca mnie od wejścia do ogrodu, gdzie książę Gilbert rozmawiał z paroma osobami, nie była zbyt wielka. Ale przejmowała mnie większym strachem, niż gdyby dla jej przebycia trzeba się było wystawić na huraganowy ogień.

Wiele kobiet, które — sądziłem — mogłyby mnie przedstawić, snuło się po ogrodzie, gdzie, udając najwyższy podziw, nie bardzo wiedziały co robić. Zabawy tego rodzaju są zazwyczaj przyjemnością antycypowaną. Nabierają realności bodaj dopiero nazajutrz, kiedy stają się przedmiotem zainteresowania osób, które nie były zaproszone. Prawdziwy pisarz, wolny od głupiej próżności tylu literatów, jeżeli w artykule krytyka zawsze objawiającego dlań najwyższy podziw, widzi cytowane nazwiska miernych autorów a swego nie, nie ma czasu zastanawiać się nad tem ani się temu dziwić: wzywa go jego praca. Ale kobieta światowa nie ma nic do roboty; toteż czytając w *Figarze*: „Wczoraj księstwo Gilbertostwo de Guermantes wydali wielki wieczór etc.” wykrzykuje: „Jak to! trzy dni temu rozmawiałam godzinę z księżną Marją, i nie powiedziała mi nic!” i łamie sobie głowę dochodząc co ona mogła zrobić Guermantom. Trzeba powiedzieć, że co się tyczyło przyjęć księżnej Marji, zdziwienie zaproszonych było czasem równe zdziwieniu niezaproszonych. Bo te fety wybuchały w chwili gdy się ich najmniej spodziewano, i gromadziły ludzi, o których księżna Marja zapomniała przez całe lata. A prawie wszyscy ludzie światowi są tak nieznaczący, że każdy z nich mierzy w swoim sądzie drugich jedynie miarą doznanej uprzejmości; o ile jest zaproszony, kocha ich, o ile jest pominięty, nienawidzi. Co się tyczy pominiętych, jeżeli w istocie zdarzało się księżnej Marji pomijać nawet przyjaciół, płynęło to często z obawy pogniewania „Palamedy”, który ich wyklął. Toteż mogłem być pewny, że księżna nie wspomniała o mnie panu de Charlus, inaczej nie byłoby mnie tam.

Baron stał teraz u wejścia do ogrodu, obok ambasadora niemieckiego, oparty o poręcz paradnych schodów wiodących do pałacu, tak że, mimo trzech czy czterech wielbicielek, które się zgrupowały dookoła niego i prawie go zasłaniały, każdy gość musiał podejść aby się z nim przywitać. I słyszało się kolejno: „Dobry wieczór, panie du Hazay; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Verclause; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Gouvernet; jak się masz, Filibert; dobry wieczór, droga ambasadorowo”, etc. Czyniło to ustawiczny szelest, przerywany życzliwymi rekomendacjami lub pytaniami (przyczem baron nie słuchał odpowiedzi), rzucanymi tonem łagodniejszym, sztucznie obojętnym i dobrotliwym: — Niech pani uważa, żeby się córeczka nie przeziębiła, w ogrodzie jest zawsze trochę wilgoci.

Dobry wieczór, pani de Brantes. Dobry wieczór, pani de Mecklembourg. Czy córeczka jest z panią? Czy włożyła swoją uroczą różową sukienkę? Jak się masz, Saint-Geran”.

Z pewnością była w tej postawie pycha; p. de Charlus wiedział, że jako Guermantes odgrywa ważną rolę na tej fecie. Ale była w tym nietylko duma; dla człowieka mającego zmysł estetyczny, samo to słowo *feta* nabierało jakiegoś zbytkownego i niezwykłego odcienia, jaki może ona mieć, gdy się odbywa nie u ludzi „z towarzystwa”, ale na obrazie Carpaccia lub Veroneza. Prawdopodobniejsze nawet jest, p. de Charlus, który był i niemieckim księciem, raczej musiał sobie wyobrażać ucztę z *Tannhäusera*, a siebie samego niby margrafa, znajdującego u wrót Wartburga życzliwe i dobre słowo dla każdego z zaproszonych, gdy ich wejście do zamku lub do parku wita długa, sto razy powtórzona fraza słynnego „Marsza”.

Trzeba się było jednak zdecydować. Widziałem wprawdzie pod drzewami kobiety, z którymi byłem dość blisko, ale zdawały się przeobrażone, ponieważ znajdowały się u księżnej Marji a nie u jej kuzynki i ponieważ widziałem je nie przed talerzem z saskiej porcelany, ale w cieniu kasztana. Elegancja środowiska nie grała w tym roli. Choćby była nieskończenie mniejsza niż u „Oriany”, byłbym tak samo wzruszony. Niech elektryczność zgaśnie w naszym salonie, tak że trzeba ją zastąpić lampą, a wszystko wyda się nam zmienione.

Wyrwała mnie z mojej niepewności pani de Souvré. „Dobry wieczór — rzekła podchodząc do mnie. Czy dawno pan nie widział Oriany?” — Umiała, jak nikt, tego rodzaju słowom dawać intonację, dowodzącą że ich nie wygłasza przez czystą głupotę, jak ludzie którzy, nie wiedząc o czym mówić, zaczepiają was tysiąc razy powołując się na wspólną znajomość, często nader mglistą. Rzuciła mi przeciwnie subtelne i znaczące spojrzenie, które mówiło: „Niech pan nie sądzi, że pana nie poznałam. Pan jest ten młody człowiek, którego widziałam u księżnej Oriany. Poznaję pana doskonale”.

Na nieszczęście, opieka, jaką otaczało mnie to zdanie głupie z pozoru a delikatne w intencji, była nadzwyczaj wątpa i rozwiała się natychmiast, skorom z niej chciał skorzystać. Kiedy chodziło o poparcie czyjejś prośby wobec kogoś potężnego, pani de Souvré umiała równocześnie robić wrażenie w oczach petenta że go poleca, a w oczach wysokiej osobistości, że go nie poleca, tak że ten „dwuwykładny” gest otwierał pani de Souvré kredyt wdzięczności u jednego, w niczem nie obciążając jej konta u drugiego. Jakoż, kiedy, zachęcony uprzejmością damy, poprosiłem ją, aby mnie przedstawiła księciu, skorzystała z chwili kiedy pan domu patrzył w inną stronę, ujęła mnie macierzyńsko za ramiona i uśmiechając się do odwróconej twarzy księcia nie mogącego jej widzieć, pchnęła mnie ku niemu ruchem rzekomo opiekuńczym, rozmyślnie bezskutecznym, zostawiającym mnie w punkcie w którym byłem wprzód. Oto nikczemność ludzi ze „świata”.

Nikczemność innej damy, która podeszła ku mnie aby się przywitać nazywając mnie po imieniu, była jeszcze większa. Mówiąc z nią, siliłem się przypomnieć sobie jej nazwisko: pamiętałem że gdzieś jadłem z nią obiad, pamiętałem jej odezwanie się. Moja uwaga, zwrócona w głąb gdzie mieściły się owe wspomnienia, nie mogła odnaleźć jej nazwiska. Ale było tam. Myśl moja rozpoczęła z niem rodzaj gry, aby pochwycić jego zarysy, literę od której się zaczyna, i aby je oświetlić wkońcu całe. Daremny trud: czułem w przybliżeniu jego masę, ciężar, ale co się tyczy jego form, konfrontując je z mrocznym jeńcem wtulonym we wnętrzną noc, powiadałem sobie: „To nie to”. Niewątpliwie, myśl moja mogłaby stworzyć najtrudniejsze nazwiska. Na nieszczęście, nie miała stworzyć, ale odtworzyć. Wszelka czynność ducha jest łatwa, jeżeli nie jest poddana jarzmu rzeczywistości. Tu, byłem zmuszony się jej poddać. Wreszcie, nagle zjawilo mi się całe to nazwisko: „pani d'Arpajon”. Niesłusznie mówię że „zjawilo się”, bo nie ukazało mi się, jak sądzę, samorzutnie. Nie sądzę również, aby blahe i mnogie wspomnienia, odnoszące się do tej damy i wciąż wzywane przeze mnie na pomoc (w zakłęciach tego rodzaju: „No, przecież to jest owa dama zaprzyjaźniona z panią de Souvré i mająca dla Wiktora Hugo uwielbienie tak naiwne, połączone z takim lękiem i zgrozą”), nie sądzę aby wszystkie te wspomnienia bujające między mną a jej nazwiskiem, pomogły w jakiegokolwiek mierze do jego wyłowienia. W tej wielkiej ciuciubabce, jaka się odbywa w naszej pamięci kiedy chcemy odnaleźć jakieś nazwisko, nie ma stopniowań możliwości. Nie widzi się nic, potem nagle ukazuje się dokładne nazwisko, bardzo odmienne od tego cośmy zgadywali. To nie ono przyszło do nas. Nie, sądzę raczej że w miarę jak żyjemy, oddalamy się od strefy,

w której jakieś nazwisko jest wyraźne; raczej dzięki ćwiczeniu woli i uwagi, które zwiększyło ostrość wewnętrznego spojrzenia, przeniknąłem nagle półmrok i przewidziałem. W każdym razie, jeżeli istnieją przejścia między zapomnieniem a pamięcią, wówczas owe przejścia są nieświadome. Bo prowizoryczne nazwiska, przez które przechodzimy, zanim znajdziemy prawdziwe, są złudne i nie podobne doń ani trochę. To nie są nawet, ściśle mówiąc, nazwiska, ale często proste spółgłoski, których niema w odnalezionym wreszcie nazwisku. Zresztą ta praca ducha, wiodąca od nicości do realności, jest tak tajemnicza, że ostatecznie możliwe jest, że te fałszywe spółgłoski to są źerdki niezręcznie podane, aby nam pomóc uczyć się prawdziwego nazwiska.

Wszystko to — powie czytelnik — w niczem nie objaśnia nam nieużytości owej damy; ale skoroś się tak długo nad tem rozwiódł, pozwól, panie autorze, zabrać sobie jeszcze minutę czasu, iżbym panu powiedział, że ubolewania godne jest, abys pan, tak młody (jak pan byłeś, lub jak był pański bohater, o ile on nie jest tobą), już miał tak mało pamięci. Nie móc sobie przypomnieć nazwiska damy, którą pan znał bardzo dobrze! To bardzo przykre, w istocie, panie czytelniku. I smutniejsze niż przypuszczasz, kiedy się w tem czuje zapowiedź czasu gdy nazwiska i imiona znikną z jasnej strefy myśli i kiedy trzeba będzie się wyrzec na zawsze nazwania sobie samemu tych, których się najlepiej znało. To przykre w istocie, aby trzeba było od młodu tyle wysiłku dla odnalezienia nazwiska, które się zna dobrze. Ale gdyby to kalectwo jawiło się jedynie w stosunku do nazwisk ledwie że znajomych, bardzo naturalnie zapomnianych i dla których nie chciałoby się podjąć trudu pamiętania, ułomność ta nie byłaby bez korzyści. „I jakich, proszę?” Takich, proszę pana, że jedynie choroba każe nam spostrzegać i uczyć się i pozwala rozkładać mechanizmy, którychby się bez tego nie poznało. Człowiekowi, który co wieczór pada jak kłoda na łóżko i przestaje żyć do chwili obudzenia się i wstania, czyż przyjdzie kiedy do głowy zrobić, jeżeli nie wielkie odkrycie, to bodaj małe spostrzeżenia dotyczące się snu? Zaledwie wie że śpi. Trochę bezsenności nie jest bezużyteczne dla ocenienia snu, dla rzucenia odrobiny światła w tę noc. Bezzawodna pamięć nie jest zbyt silnym bodźcem do studjowania zjawisk pamięci. „Ostatecznie, czy pani d’Arpajon przedstawiła pana księciu Gilbertowi?” Nie, ale zamilcz i pozwól mi podjąć opowiadanie.

Pani d’Arpajon była jeszcze małoduszniejsza od pani de Souvré, ale małoduszność jej była bardziej usprawiedliwiona. Wiedziała, że zawsze miała mało wpływów w towarzystwie. Wpływy te osłabił jeszcze jej stosunek z księciem Błażajem, a zerwanie tego stosunku przez księcia zadało im ostatni cios. Zły humor, w jaki ją wprowadziła moja prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi, objawił się u niej milczeniem, którem chciała naiwnie wyrazić, że nie słyszała tego com mówił. Nie czuła nawet, że mimowoli zmarszczyła brwi z gniewu. A może, przeciwnie, czuła, ale nie troszczyła się o tę sprzeczność i posłużyła się nią, aby, bez zbytnej brutalności, dać mi lekcję taktu — niemą, ale przez to tem wymowniejszą.

Zresztą, pani d’Arpajon była bardzo kwaśna; wiele spojrzeń wznosiło się w stronę renesansowego balkonu, w którego rogu, zamiast monumentalnych posągów, jakimi tak często strojono krużganki w owej epoce, pochylała się, nie mniej posągowa niż one, wspaniała księżna de Surgis-le-Duc, ta co zajęła miejsce pani d’Arpajon w sercu Błażeja de Guermantes. Pod lekkim białym tiulem, chroniącym ją od nocnego chłodu, widać było jej gibkie ciało zrywającej się bogini Zwycięstwa.

Jako jedyny ratunek pozostawał mi już tylko pan de Charlus, który przeszedł z powrotem do sali wychodzącej na ogród. Ponieważ baron udawał, że jest zatopiony w rzekomej partji wista, która mu pozwalała nie okazywać że widzi kogokolwiek, mogłem swobodnie podziwiać świadomą i artystyczną prostotę jego fraka, który, dzięki drobnym szczegółom dostrzegalnym jedynie oku krawca, robił wrażenie czarno-białej „harmonji” Whistlera; czarno-biało-czerwonej raczej, bo p. de Charlus nosił na szerokiej wstążce, przypięty do fraka, biało-czarno-czerwono emaljowany krzyż zakonu maltańskiego.

W tej chwili przerwała baronowi partję pani de Gallardon, prowadząc swego siostrzeńca, wicehrabiego de Courvoisier, ładnego chłopca o impertynenckiej minie.

— Kuzynie — rzekła pani de Gallardon — pozwoli kuzyn, że mu przedstawię mego siostrzeńca Adalberta. Adalbercie, wiesz, to sławny wuj Palamed, o którym tyle słyszałeś.

— Dobry wieczór, pani de Gallardon — odparł Charlus. I dodał, nie patrząc nawet na młodego człowieka: „Witam pana”, z nadętą miną i tonem tak wybitnie niegrzec-

nym, że wszyscy się zdumieli. Może sądząc, że pani de Gallardon ma wątpliwości co do jego obyczajów i że nie mogła sobie odmówić przyjemności zrobienia do nich aluzji, nie chciał jej dostarczyć materiału uprzejmością dla jej siostrzeńca; może chciał publicznie zmanifestować swoją obojętność dla młodych ludzi; może uważał iż rzeczony Adalbert nie potwierdził słów ciotki miną dostatecznie pełną szacunku; może wreszcie, pragnąc później zawrzeć bliższą znajomość z tak sympatycznym kuzynkiem, baron chciał sobie zapewnić korzyści uprzedniej agresji, jak owi monarchowie, którzy przed wszczęciem akcji dyplomatycznej popierają ją akcją militarną.

To aby p. de Charlus ziścił prośbę o przedstawienie mnie, okazało się mniej trudne niż sądziłem. Z jednej strony, w ciągu dwudziestu lat, ten don Kiszot bił się z tyłoma wiatrakami (często byli to krewni, o których twierdził, że się źle zachowali wobec niego), tak często wykluczał kogoś — jako „osobę zupełnie niemożliwą” — z zaproszeń do takich czy innych Guermantów, iż ci zaczęli się obawiać, że się poróżnią ze wszystkimi których lubili, że się wyrzekną do śmierci towarzystwa niektórych „nowych” których byli ciekawi, poto aby się solidaryzować z grzmiącymi ale niezrozumiałymi urazami szwagra czy kuzyna, żądającego aby się dlań wyrzec żony, brata, dzieci. Inteligentniejszy od innych Guermantów, p. de Charlus widział, że jego ostracyzmy uwzględniano ledwie co drugi raz; sprzedając tedy przyszłość, bojąc się aby pewnego dnia raczej jego się nie wyrzeczono, zaczął uznawać kompromisy, spuszczać — jak się to mówi — z ceny. Co więcej, o ile zdolny był darzyć na miesiące, na lata, trwałem życiem znienawidzoną istotę — której zaproszenia nie dopuściliby za nic i raczej biłby się jak tragarz bodaj z królową (bo dostojęństwo osoby stawiającej mu opór przestawało dlań wchodzić w rachubę), w zamian za to, wybuchy jego gniewu, ponawiane zbyt często, pozostawały tem samem nieco fragmentaryczne. „Idjota, paskudny błazen! przepędzi się go tam gdzie jego miejsce, wymiecie się go do zlewu, co na nieszczęście nie obędzie się bez szkody dla zdrowotności publicznej”, ryczał baron nawet będąc sam w swoim gabinecie, przy lekturze listu, który mu się wydał nie dość pełen szacunku, lub przypomniawszy sobie jakieś powiedzenie, które mu powtórzono. Ale nowa wściekłość na drugiego „idjotę” rozpraszała poprzednią i byle pierwszy idjota okazał nieco skruchy, najsurowszy sąd o nim szedł w zapomnienie, ile że nie trwał dość długo aby stworzyć grunt pod gmach nienawiści. Toteż — mimo uraz barona do mnie — prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi byłaby może odniosła pomyślny skutek, gdybym nie wpadł na nieszczęśliwy pomysł dodania przez skrupuł (aby mnie baron nie mógł posądzić żem tu wszedł na ryzyko, licząc na niego że mi pomoże zostać):

— Pan wie, że ja znam księżstwa bardzo dobrze, księżna Marja była dla mnie bardzo uprzejma.

— Ha, w takim razie, jeżeli pan ich zna, naco panu mojej prezentacji — trzasnął odwracając się plecami i podjął swoją fikcyjną partję z nuncjuszem, ambasadorem niemieckim i jakąś figurą, której nie znałem.

Wówczas z głębi tych ogrodów gdzie niegdyś książę d'Aiguillon chował osobliwe zwierzęta, doszedł mnie, przez szeroko rozwarte okno, odgłos jakby węszenia, które wchłaniało ten cały wykwent i nie chciało zeń nic uronić. Odgłos zbliżał się, skierowałem się na los szczęścia w jego kierunku, tak iż słowa „dobry wieczór”, szepnięte mi w ucho przez pana de Bréauté zabrzmiały nie jak żelazisty i wyszczerbiony dźwięk ostrzonego noża a jeszcze mniej jak pomruk warchlaka, niszczyciela uprawnych pól, ale jak głos możliwego wybawcy. Mniej potężny niż pani de Souvré, ale mniej nieużyty, o wiele swobodniejszy z księciem niż pani d'Arpajon, żywiący może złudzenia co do mojej sytuacji w sferze Guermantów, lub może znający tę sytuację lepiej ode mnie, p. de Bréauté niełatwy był wszelako w pierwszej chwili do ujęcia, bo z drgającymi i rozdętymi nozdrzami zwracał się na wszystkie strony, wybałuszając ciekawie monokl, tak jakby się znajdował wobec pięciuset arcydzieł. Ale usłyszawszy moją prośbę, przyjął ją z zadowoleniem, poprowadził mnie do księcia i przedstawił mnie z łakomą, ceremonialną i wulgarną miną, tak jakby mu podał talerzyk ptifurów, polecając je. O ile wzięcie księcia Błażeja było — kiedy chciał — miłe, koleżeńskie, serdeczne i poufale, o tyle wzięcie księcia Gilberta wydało mi się sztywne, uroczyste, wyniosłe. Ledwie się do mnie uśmiechnął, wygłaszając poważne: „Witam pana”. Słyszałem często, jak książę Błażej dworował sobie ze sztywności kuzyna. Ale po pierwszych słowach księcia Gilberta, które przez swój chłód i powagę

tworzyły całkowity kontrast ze słownictwem księcia Błażeja, zrozumiałem natychmiast, iż człowiekiem głęboko lekceważącym jest książę Błażej, który cię traktuje od pierwszej wizyty jak kamrata i że z tych dwóch wielkich panów człowiekiem naprawdę prostym jest Gilbert. Ujrzałem w jego sztywności większe poczucie, nie równości, bo to byłoby u niego nie do pojęcia, ale bodaj szacunku, jaki można przyznać niższemu od siebie, jak się to zdarza we wszystkich środowiskach silnie zhierarchizowanych, w sądownictwie na przykład, albo w łonie Fakultetu, gdzie generalny prokurator lub dziekan, świadomi swojej wysokiej godności, kryją może w tradycyjnej dumie więcej istotnej prostoty i — skoro się ich pozna bliżej — więcej dobroci, szczerzej naturalności, serdeczności, niż inni, nowocześniejsi od nich, w filuternej komedji filuternego koleżeństwa. „Czy pan zamierza iść drogą swego ojca”, spytał książę sztywno ale z zainteresowaniem. Odpowiedziałem zwięźle, rozumiejąc że pyta jedynie przez uprzejmość, i oddaliłem się, aby zostawić dostęp nowoprzybyłym.

Ujrzałem Swanna, chciałem z nim mówić, ale w tej chwili spostrzegłem, że książę Gilbert, zamiast przywitać się poprostu z mężem Odety, natychmiast, z siłą pompy ssącej, wciągnął go w głąb ogrodu, zdaniem niektórych osób poto aby go wyprosić za drzwi.

Mimo iż byłem tak roztargniony, że dopiero na trzeci dzień dowiedziałem się z dzienników, iż czeska orkiestra przygrywała cały wieczór i że co minutę zapalano ognie bengalskie, odnalazłem nieco przytomności na myśl, iż ujrzę słynny wodotrysk Huberta Robert.

Na polance okolonej pięknymi drzewami (niektóre były równie stare jak ten wodotrysk), widać go było zdaleka nieco z boku. Smukły, nieruchomy, stężyły, kołysał na wietrze swój lekko opadający, blady i drżący pióropusz. XVIII wiek wysubtelnił wykwiłt jego linii, ale, utrwalając styl wytrysku, jakgdyby poraził jego życie; na tę odległość miało się raczej wrażenie sztuki niż poczucie wody. Nawet wilgotna mgła, zbierająca się na szczycie, zachowała charakter epoki, jak chmury gromadzące się na niebie dokoła pałaców Wersalu. Ale z bliska człowiek zdawał sobie sprawę, że, mimo iż szanując pierwotny rysunek niby kamienie starożytnego pałacu, wciąż nowe wody, posłuszne dawnym rozkazom architekta, spełniały te rozkazy dokładnie ale zdając się je gwałcić, ile że dopiero tysiąc ich ulotnych płasów mogło dać na odległość wrażenie jednego rzutu. Ten wytrysk był w istocie równie często przerywany jak mgławica opadu, podczas gdy z daleka wydawał się nieugięty, zbity, ciągły, nieprzerwany. Podszedłszy nieco bliżej, widziało się, że tę ciągłość, na pozór czysto linearną, utrwalal, we wszystkich punktach wzbijania się wodotrysku, wszędzie tam gdzie mógłby się on złamać, równoległy słup wody, wznoszący się wyżej od pierwszego, a sam, na większej i już męczącej dlań wysokości, wsparty trzecim. Z bliska, omdlałe krople opadały ze słupa wody, krzyżując się w przelocie ze swemi biegnącymi w górę siostrami; to znów, rozdarłe, porwane w wir powietrza zmaconego tym ciągłym wytryskiem, bujały zanim wpadły do basenu. Swojami wahaniami, pędem w przeciwnym kierunku, hamowały i zacierały miękką parą prostolinijność i prężność tej lodygi, wznoszącej podłużną chmurę utworzoną z tysięcy kropelek, ale na pozór wymalowaną złożonym i niezmiennym bronzem, która wzbijała się nieflamiwa, nieruchoma, bystra i chybka, łącząc się z obłokami na niebie. Na nieszczęście, podmuch wiatru wystarczał aby ją strącić na ziemię, czasem nawet nieposłuszny strumień wody odszczepiał się i zmoczyłby do szpiku niebaczną i zapatrzoną ciżbę, gdyby się nie trzymała w pełnej szacunku odległości.

Jeden z takich drobnych wypadków, zdarzających się prawie tylko wówczas gdy zrywał się wiatr, był dość nieprzyjemny. Mówiono pani d'Arpajon, że książę Błażej — w istocie jeszcze nieobecny — jest z panią de Surgis w różowej marmurowej galerji, dokąd wiodła podwójna kolumnada, wznosząca się od cembrzyny basenu. Otóż, w chwili gdy pani d'Arpajon miała się zapuścić między kolumny, silny podmuch ciepłego wiatru skrzył wodotrysk i skropił tak dokładnie piękną damę, że woda, ściekając przez dekolt pod suknię, zmoczyła ją naksztalt kąpieli. Wówczas, rozległo się przerywane chrząkanie, dość silne aby je mogła słyszeć cała armja, ale przeciągające się chwilami, tak jakby się zwracało nie do całej armji lecz kolejno do każdego oddziału; to Wielki książę Włodzimierz śmiał się z całego serca, widząc prysznic pani d'Arpajon, jedną z najweselszych rzeczy (jak lubił powtarzać później), jakie widział w życiu. Kiedy parę miłosiernych osób zwracało uwagę moskalowi, że słówko współczucia z jego strony byłoby może na miejscu i sprawiłoby przyjemność tej kobiecie, która, mimo swojej dobrej czterdziestki, ocierając się



szalem, nie prosząc nikogo o pomoc, ratowała się mimo wody chlapiącej złośliwie cembrzynę basenu, Wielki książę, który miał dobre serce, uznał za właściwe dopełnić tego obowiązku. Jakoż, skoro się uciszyły ostatnie salwy śmiechu, rozległ się nowy wybuch jeszcze gwałtowniejszy od poprzednich: „Brawo, stara!” — wykrzyknął klaszcząc w ręce jak w teatrze. Pani d'Arpajon nie była rada, że chwalono jej zwinność kosztem jej młodości. I kiedy ktoś, ogłuszony szumem wody, nad którym górował wszelako grzmot Jego Wysokości, rzekł: „Zdaje się, że Jego Wysokość coś mówił do pani? — Nie, to do pani de Souvré” — odparła.

Przebyłem ogród i wróciłem na schody, gdzie nieobecność księcia Gilberta, który znikł ze Swannem, zwiększyła ciżbę gości dookoła pana de Charlus; tak, kiedy Ludwik XIV opuszczał Wersal, więcej osób było u jego brata. Baron zatrzymał mnie w drodze, podczas gdy za mną dwie damy i młody człowiek zbliżali się aby się z nim przywitać.

„Miło mi widzieć pana tutaj”, rzekł podając mi rękę. „Dobry wieczór, pani de la Trémoille, jak się masz, droga Herminjo”. Ale z pewnością wspomnienie tego, co mi powiedział o swojej zwierzchniczej roli w pałacu Guermantes zbudziło w nim, w stosunku do tego co go drażniło ale czemu nie mógł zapobiec, chęć okazania zadowolenia, któremu jego wielkopańska buta i histeryczne podniecenie dały natychmiast formę bezgranicznej ironji: „Miło, ale zwłaszcza zabawnie”. I wstrząsały go wybuchy śmiechu, mające zarazem świadczyć o jego radości i o bezsilności ludzkich słów dla jej oddania.

Tymczasem niektóre osoby, wiedząc jak baron jest nieprzystępny i skłonny do brutalnych wybuchów, zbliżyły się ciekawie, poczem z nieprzyzwoitym prawie pośpiechem brały nogi za pas. — No, niech się pan nie gniewa — rzekł baron, trącając mnie lekko w ramię — pan wie, że ja pana bardzo lubię. Jak się masz, Antjochu; jak się masz, Louis-René. Czy pan już widział wodotrysk? — spytał mnie tonem raczej twierdzącym niż pytającym. To bardzo ładne, prawda? Cudowne! Oczywiście, to mogłoby być jeszcze ładniejsze, gdyby usunąć pewne rzeczy; wówczas nie byłoby nic podobnego we Francji. Ale tak jak jest, to już należy do rzeczy najlepszych. Bréauté powie panu, że źle zrobiono wieszając lampiony; tak powie aby zatrzeć ślad że to on wpadł na ten idjotyczny pomysł. Ale, w sumie, zdołał tylko bardzo niewiele zeszpecić. O wiele trudniej jest zniekształcić dzieło sztuki, niż je stworzyć. Domyślaliśmy się już zresztą potrosze, że Bréauté ma mniej talentu od Huberta Robert.

Wsunąłem się w sznur gości, wchodzących do pałacu.

— Czy dawno widział pan moją uroczą Orianę — spytała księżna Marja, która od niedawna opuściła fotel przy wejściu i z którą wracałem do salonów. — Ma przyjść dziś wieczór, widziałam ją zaraz popołudniu — dodała pani domu. — Przyrzekła mi. Zdaje mi się zresztą, że pan je obiad z nami obiema u królowej włoskiej, w ambasadzie, we czwartek. Będą wszystkie możliwe Wysokości, to będzie bardzo onieśmielające.

Nie mogły w każdym razie onieśmielić księżnej Marji, w której salonach roilo się od książąt krwi i która mówiła „moje małe Koburgi”, tak jakby mówiła „moje pieski”. Toteż księżna Marja mówiła: „To będzie bardzo onieśmielające”, przez czystą głupotę, która u ludzi światowych przewyższa jeszcze ich próżność. O własnej genealogji wiedziała mniej niż lada profesor historii. Co się tyczy przyjaciół, starała się dowieść, że zna przydomki jakie im nadawano. Zapytawszy, czy będę w przyszłym tygodniu na obiedzie u margrabiny de la Pommelière, którą często nazywano „la Pomme”, i otrzymawszy przeczącą odpowiedź, księżna Marja zamilkła na chwilę. Potem, bez żadnej innej racji prócz świadomej chęci popisu mimowolną erudycją, banalnością i zgodnością z duchem stada, dodała: „Dosyć miła jest ta *Pomme!*”.

Podczas gdy księżna Marja rozmawiała ze mną, wkraczali właśnie do salonów księstwo Błazejowie. Ale nie mogłem odrazu podejść do nich, bo mnie złapała w przelocie ambasadorowa turecka. Pokazując mi panią domu, którą dopiero co opuściłem, wykrzyknęła, chwytając mnie za ramię:

— Cóż za rozkoszna osoba, ta księżna Marja! Co za niepospolita istota! Zdaje mi się, że gdybym była mężczyzną — dodała z odrobiną wschodniej uniżoności i zmysłowości — poświęciłabym życie temu niebiańskiemu stworzeniu.

Odpowiedziałem, że jest w istocie uroczą, ale że bliżej znam jej kuzynkę Orianę.

— Ależ nie ma żadnego porównania — rzekła ambasadorowa. — Oriana jest przemiła światowa kobietka, która czerpie swój dowcip od Mémé i od Babala, podczas gdy księżna Marja to jest *ktos*.

Nigdy bardzo nie lubiłem, aby mi tak bezapelacyjnie narzucano, co mam myśleć o znajomych. I nie było żadnej racji, aby ambasadorowa turecka miała o wartości księżnej Oriany sąd kompetentniejszy od mojego.

Z drugiej strony, fakt że mnie ambasadorowa zirytowała, tłumaczy się tem, że wady prostego znajomego, a nawet przyjaciela, są dla nas niby trucizny, przeciw którym jesteśmy na szczęście „zmitrydatyzowani”. Ale, nie siląc się na żaden aparat porównań naukowych, ani wspominając o *anafilaksji*, powiedzmy, że w łonie naszych przyjacielskich lub poprostu światowych stosunków, czai się wrogość, chwilowo uleczona, ale powracająca, napadowa. Zazwyczaj mało się cierpi od tych trucizn, dopóki ludzie są „naturalni”. Mówiąc „Babal”, „Mémé” na oznaczenie osób których nie znała, ambasadorowa turecka zawieszała działanie „mitrydatyzmu”, który zazwyczaj czynił mi ją znośną. Drażniła mnie, co było tem niesprawiedliwsze, że ona mówiła tak nie dlatego aby udawać zazłość z „Mémé”, ale wskutek zbyt pospiesznej edukacji, zalecającej jej nazywać owych szlachetnych panów w sposób, który uważała za krajowy obyczaj. Przeszła kurs w ciągu kilku miesięcy, nie przebywając wszystkich stopni. Ale po zastanowieniu odkryłem, że moja niechęć do towarzystwa ambasadorowej ma inne źródło. Nie dawno temu, u „Oriany”, ta sama dyplomatyczna jejmość oświadczyła mi, że świadomą i poważną miną, że księżna Marja de Guermantes jest jej wręcz antypatyczna. Woląłem nie zastanawiać się nad tą zmianą kursu: wywołało ją zaproszenie na wieczór. Ambasadorowa była całkiem szczerą, powiadając że księżna Marja jest czarująca. Zawsze tak myślała. Ale stale dotąd nie zapraszana do księżnej, uważała za właściwe dać temu brakowi zaproszeń formę dobrowolnej i zasadniczej abstynencji. Teraz, kiedy była w salonie księżnej i prawdopodobnie miała w nim bywać nadal, sympatja jej mogła się wyrazić swobodnie. Dla wytłumaczenia trzech czwartych sądów, jakie ludzie wydają o ludziach, nie potrzeba szukać zawieszonoj miłości ani politycznych zawiści. Sąd buja w powietrzu: zaproszenie lub jego brak przechyla go na jedną lub drugą stronę. Zresztą, ambasadorowa turecka — jak mówiła baronowa de Guermantes, która zrobiła ze mną inspekcję salonów — „dobrze robiła” w towarzystwie. Była zwłaszcza bardzo użyteczna. Prawdziwe gwiazdy światowe zmęczone są występami. Kto ich jest ciekaw, musi często emigrować w drugą hemisferę, gdzie są prawie samotne. Ale kobiety podobne do ambasadorowej ottomańskiej, całkiem świeże w „świecie”, zawsze skore są błyszczeć, aby tak rzec, wszędzie naraz. Są niezmiernie użyteczne dla tego rodzaju spektaklów zwanych wieczorem czy rautem, gdzie raczej kazałyby się zanieść umierające, niżby się tam miały nie pokazać. To są statystki, na które zawsze można liczyć, nie opuszczając żadnej fety. Toteż głupie żółtodzioby, nie wiedząc że to są fałszywe gwiazdy, widzą w nich królowe szyku, podczas gdy trzebaby prawdziwej lekcji, aby im wytłumaczyć, na jakiej zasadzie pani Standish, nieznana im nawet ze słyszenia i malująca poduszki, zdala od świata, jest co najmniej równie wielką damą jak księżna Doudeauville.

W zwykłych momentach życia, oczy księżnej Oriany były roztargnione i trochę melancholijne; zapalała w nich duchowy płomień jedynie za każdym razem kiedy się miała przywitać z kimś znajomym; zupełnie tak, jakby ów ktoś był jakimś dowcipnym, miłym żartem, smacznym kąskiem, którego smak odbija się na twarzy znawcy subtelnym i radosnym wyrazem. Ale na wielkich przyjęciach, mając za wiele osób do witania, uważała że zbyt męczące byłoby gasić po każdej z nich i za każdym razem światło. Jak miłośnik literatury, idąc do teatru aby oglądać nowość jednego z mistrzów sceny, pewny że nie zmarnuje wieczoru, już oddając rzeczy w szatni dostraja usta do inteligentnego uśmiechu, ożywione spojrzenie do złośliwej aprobaty, tak wchodząc do salonu, księżna Oriana zaświecała oczy na cały wieczór. I oddając wieczorowy płaszcz o wspaniałej czerwieni Tiepolo, odsłaniając istną rubinową obrozę obejmującą jej szyję, zlustrowawszy suknię owem ostatniem, szybkim, szczegółowem i wyczerpującem spojrzeniem krawieckiem, jakim jest spojrzenie światowej kobiety, Oriana sprawdzała blask swoich oczu, tak samo jak blask innych klejnotów.

Daremnie parę „życzliwych języków”, jak p. de Janville, rzuciło się na księcia Błażeja, aby mu nie dać wejść: — Czyż ty nie wiesz, że biedny Mama jest konający? Właśnie był

u niego ksiądz z olejami. — Wiem, wiem — odpowiedział p. de Guermantes, odpychając natręta w przejściu. — Wiatyk wywarł najlepszy skutek — dodał uśmiechając się rozkosznie na myśl o reducie, której był zdecydowany nie chybić po wieczorze u Gilbertów. — Nie chcieliśmy, aby wiadano żeśmy wrócili — rzekła do mnie księżna Oriana. Nie domyślała się, że księżna Marja osłabiła zawczasu to twierdzenie, powiadając, że widziała przez chwilę swoją kuzynkę, która obiecała przyjść. Po długim spojrzeniu, którym przez pięć minut prażył żonę, książe Błażej rzekł: „Powiedziałem Orianie o pańskich wątpliwościach”.

Teraz, kiedy księżna widziała że były nieuzasadnione i że nie potrzebuje nic robić aby je rozprószyć, oświadczyła że były niedorzeczne, żartowała ze mnie długo.

— Cóż za pomysł, przypuszczać, że pan nie był zaproszony! A potem, byłam przecie ja. Czy pan sądzi, że nie potrafiłabym uzyskać dla pana zaproszenia do mojej kuzynki?

Muszę powiedzieć, że księżna robiła później często dla mnie trudniejsze rzeczy; mimo to nie wzięłam tych jej słów w sensie wyrzutu że byłem zbyt oględny. Zaczynałem poznawać ściśłą wartość mówionego lub niemego języka arystokratycznej uprzejmości; uprzejmości szczęśliwej że może nam osłodzić nasze poczucie niższości, ale nie do tego stopnia aby je rozprószyć, bo w takim razie jużby ta uprzejmość nie miała racji istnienia. „Ależ ty jesteś równy nam, o ile nie wyższy”, zdawali się wszystkimi swemi postępkami mówić Guermantowie; i mówili to we wszelki najmiły sposób, poto aby ich kochano, podziwiano, ale nie aby im uwierzono. Odgadnąć fikcyjny charakter tej uprzejmości, to oni nazywali „być dobrze wychowanym”; uwierzyć w szczerą uprzejmość, było złem wychowaniem. Otrzymałem zresztą niebawem lekcję, która pouczyła mnie najściślej o rozciągłości i o granicach pewnych form arystokratycznej uprzejmości. Było to na podwieczorku wydanym przez księżnę de Montmorency dla królowej angielskiej; utworzył się tam mały orszak posuwający się do bufetu, na czele zaś kroczyła monarchini, prowadzona pod ręką przez księcia Błażeja. Wszedłem właśnie w tej chwili. Drugą swobodną ręką książe dawał mi, na odległość conajmniej czterdziestu metrów, tysiąc znaków równie przyjaznych jak zachęcających; wyraźnie mówiły one, że mogę się zbliżyć bez obawy aby mnie zjedzono na surowo zamiast sandwichów. Ale ja, który zaczynałem się doskonalić w języku dworów, zamiast się zbliżyć bodaj o jeden krok, z czterdziestu metrów odległości skłoniłem się głęboko, ale bez uśmiechu, tak jakbym miał przed sobą kogoś ledwie znajomego, poczem udałem się dalej swoją drogą w przeciwnym kierunku. Gdybym napisał arcydzieło, mniej by mnie ono podniosło w oczach Guermantów niż ten ukłon. Nie tylko nie uszedł oczu księcia, który musiał przecież odpowiadać na ukłony jakich pięciuset osób, ale i oczu księżnej, która, spotkawszy moją matkę, opowiedziała jej to zdarzenie, bynajmniej nie powiadając że źle postąpił, że powinienem się być zbliżyć. Oznajmiła, że książe zachwycony był moim ukłonem, że niepodobna było zawrzeć w nim więcej rzeczy. Nie przestawano znajdować w tym ukłonie wszystkich przymiotów, nie wspominając wszakże o tym, który wydał się najcenniejszy, to znaczy że był skromny; i nie przestano mi prawić komplementów, które pojąłem nietyle jako nagrodę za przeszłość, ile jako wskazówkę na przyszłość, w rodzaju tych, jakich delikatnie udziela uczniom dyrektor konwiktu. „Nie zapominajcie, drogie dzieci, że te nagrody są nietyle dla was, ile dla waszych rodziców, aby was tu znów umieścili na przyszły rok”. W ten sposób, pani de Marsantes, kiedy ktoś z innego świata wchodził w jej sferę, chwaliła przed nim ludzi skromnych („znajduje się ich kiedy się ich szuka, a pozatem umieją być tak jakby ich nie było”), tak jak służącemu, który nie pachnie, zwraca się w pośredniej formie uwagę, że kąpiel wyborna jest dla zdrowia.

Podczas gdy rozmawiał z panią de Guermantes, zanim jeszcze opuściła się, usłyszałem głos z rodzaju który w przyszłości miałem niemylnie rozpoznawać. Był to, w danym wypadku, p. de Vaugoubert rozmawiający z panem de Charlus. Klinicysta nie czeka aż chory podniesie koszulę, ani nie potrzebuje słuchać oddechu pacjenta: głos mu wystarcza. Ileż to razy później miał mnie uderzyć w salonie akcent lub śmiech jakiegoś człowieka, który wszelako ściśle naśladował gwarę swego zawodu lub formy swojej sfery, przybierając surową dystynkcję lub poufałą rubasność; ale fałsz głosu wystarczał dla mego wycwiczzonego ucha niby widelki stroiciela; i powiadałem sobie: „To jakiś Charlus”.

W tej chwili cały personel jakiejś ambasady przeszedł, kłaniając się panu de Charlus. Mimo że moje odkrycie rzeczony choroby datowało ledwie od tego popołudnia (kiedym

spozrzegł pana de Charlus z Jupienem), nie potrzebowalby dla postawienia diagnozy pytać ani auskultować. Ale p. de Vaugoubert, rozmawiający z p. de Charlus, widocznie nie był pewny. A przecież po wątpieniach wieku młodzieńczego, powinien był już wiedzieć czego się trzymać. Zboczeniec uważa się za jedynego w swoim rodzaju w całym świecie; później dopiero wyobraża sobie — druga przesada — że jedynym wyjątkiem jest człowiek normalny. Ale p. de Vaugoubert, ambitny i płochliwy, nie oddawał się już od bardzo dawna temu, co byłoby dlań rozkoszą. Karjera dyplomatyczna miała na jego życie wpływ równający się wstąpieniu do zakonu. Połączona z pilnością w Szkole nauk politycznych, skazała go, od dwudziestego roku życia, na czystość pierwszych chrześcijan. Toteż, ponieważ każdy zmysł traci swoją siłę i żywotność i zanika kiedy go nie używać, p. de Vaugoubert — tak samo jak człowiek cywilizowany, niezdolny już do ćwiczeń fizycznych oraz pozbawiony sluchu człowieka jaskiniowego — stracił specjalną bystrość, która rzadko zawodziła pana de Charlus; i na oficjalnych obiadach, bądź w Paryżu bądź zagranicą, ambasador nie umiał już nawet rozpoznać tych, którzy pod powłoką uniformu byli w gruncie podobni jemu.

Kilka nazwisk, jakie wymienił p. de Charlus, oburzony kiedy jego samego cytowano dla jego gustów, ale zawsze lubiący demaskować skłonności innych, wprawiły pana de Vaugoubert w rozkoszne zdumienie. Nie aby po tylu latach chciał skorzystać z jakiej gratki. Ale nagle rewelacje (podobne tym, które w tragedjach Racine'a objaśniają Atalję i Abnera, że Joas jest z rasy Dawida, że zasiadająca w purpurze Estera ma krewnych żydłaków), zmieniając wygląd poselstwa X... lub jakiegoś departamentu Ministerstwa spraw zagranicznych, czyniły mu retrospektywnie owe pałace czemś równie tajemniczym jak świątynia Jerozolimska lub sala tronowa w Suzie. Wobec tej ambasady, której młody personel zbliżył się w komplecie, aby uściskać dłoń pana de Charlus, pan de Vaugoubert przybrał zachwyconą minę Elizy, wykrzykującej w *Esterze*:

Nieba! zastęp niewinnych piękności uoczy  
Ze wszech stron przybywając czaruje me oczy.  
Jakże powabna stroi wstydlivość ich twarze!

Następnie, pragnąc być bardziej „poinformowany”, z uśmiechem rzucił panu de Charlus spojrzenie głupio-pytające i pożądliwe zarazem: „Ależ tak, rozumie się”, rzekł p. de Charlus z poważną miną erudyty mówiącego do nieuka. Odtąd, Vaugoubert (co bardzo drażniło pana de Charlus) nie odrywał już oczu od tych młodych sekretarzów, których ambasador mocarstwa X..., stary wyjadacz, dobrał nader starannie. P. de Vaugoubert milczał, widziałem tylko jego spojrzenia. Ale, przyzwyczajony od dzieciństwa używać nawet rzeczom niemym języka klasyków, czytałem w oczach pana de Vaugoubert wiersze, w których Estera tłumaczy Elizie, że Mardocheusz postarał się, przez miłość swojej religii, umieszczać przy królowej jedynie dziewczęta, które tę religję wyznają.

Zapał jego, uczucia wszystkie dzieląc z nami,  
Chciał zaludnić ten pałac Syjonu córami;  
Młode i tkliwe kwiaty, łosem doświadczone,  
Pod niebo cudzoziemskie jak ja przeniesione,  
W miejscu, co od niegodnych oczu leży zdala,  
On (przezacny ambasador) troskliwie hoduje i w cnocie utrwała.

Wreszcie pan de Vaugoubert przemówił inaczej niż oczami:

— Kto wie — rzekł melancholijnie — czy w kraju, gdzie ja rezyduję, nie istnieje to samo.

— To bardzo prawdopodobne — odparł p. de Charlus — zaczynając od króla Teodozjusza, mimo że nie wiem o nim nic pozytywnego.

— Och, wcale nie!

— W takim razie, doprawdy znakomicie to udaje! Ależ się mizdrzy! Ma ten *genre* „moja mała”, rodzaj którego najbardziej nie znoszę. Nie odważyłbym się z nim pokazać na ulicy. Zresztą, musisz mieć o nim wyrobione zdanie, znany jest jak zły szeląg.

— Mylisz się co do niego najzupełniej. Jest zresztą czarujący. W dniu, w którym podpisano ugodę z Francją, król mnie uściskał. Nigdy nie byłem tak wzruszony.

— To była chwila aby mu wyznać to czego pragniesz.

— Och, Boże, co za okropność, gdyby on bodaj podejrzewał! Ale w tym względzie nie mam żadnych obaw.

Usłyszawszy te słowa (bo stałem niedaleko), natychmiast zacytowałem sobie w duchu:

Po dzień dzisiejszy zgoła kim jestem król nie wie,  
I sekret ten wciąż wiąże język mój spętany.

Ten w pół-niemym w pół-mówionym dialog trwał niezbyt długo. Ledwie przeszedł kilka kroków z księżną Orianą, kiedy nieduża brunetka, bardzo ładna, zatrzymała ją:

— Chciałabym koniecznie pomówić z tobą. D'Annunzio ujrzał cię z łoża, napisał do księżnej de T... list, gdzie powiada, że w życiu nie widział nic równie pięknego. Oddałby życie za dziesięć minut rozmowy z tobą. W każdym razie, nawet jeżeli nie możesz albo nie chcesz, list jest w moim posiadaniu. Musisz mi naznaczyć godzinę. Są pewne dyskretne rzeczy, których nie mogę powiedzieć tutaj. Widzę, że mnie pan nie poznaje, dodała zwracając się do mnie; spotkałam pana u księżnej Parmy (gdzie nigdy nie byłem). Cesarz rosyjski życzyłby sobie, aby pańskiego ojca posłano do Petersburga. Jeżeli pan może przyjść we wtorek, właśnie będzie Izwołski, pomówilibyście o tem. Mam dla ciebie podarek, kochanie — dodała obracając się do księżnej; podarek, którego nie zrobiłabym nikomu prócz ciebie. Rękopis trzech sztuk Ibsena, które mi przesłał przez swojego starego pielęgniarza. Zachowam jedną, a dwie dam tobie.

Książę Błażej nie był zachwycony temi propozycjami. Niepewny czy Ibsen lub d'Annunzio żyją czy umarli, widział już pisarzy, dramaturgów, składających wizyty jego żonie i pakujących ją do swoich utworów. Ludzie światowi chętnie wyobrażają sobie książki jako rodzaj pudła pozbawionego jednej ściany, tak że autor coprędzej „pakuje” do środka osoby które napotka. To jest oczywiście nielojalnie, a tacy ludzie to są podejrzane figury. Zapewne, byłoby dość zabawne widywać ich „*en passant*”, bo dzięki nim, kiedy się czyta książkę lub artykuł, zna się „podszewkę” wszystkiego, można „zdrzeć maski”. Mimo wszystko, roztropniej jest poprzestać na autorach umarłych. P. de Guermantes uważał za „zupełnie na miejscu” jedynie osobnika, który prowadził rubrykę nekrologów w „*Gaulois*”. Ten przynajmniej ograniczał się do cytowania nazwiska pana de Guermantes między osobami zauważonymi „w szczególności” na pogrzebach, gdzie książę się zapisał na liście. Kiedy p. de Guermantes wołał aby jego nazwisko nie figurowało, wówczas, zamiast się zapisywać, przesyłał rodzinie zmarłego kondolencję, zapewniającą o jego bardzo żalobnych uczuciach. Jeżeli ta rodzina zamieściła w dzienniku: „pomiędzy otrzymanymi dowodami współczucia, zacytujmy list księcia de Guermantes”, etc. to nie była wina wzmiankarza, ale syna, brata, ojca zmarłej osoby, których książę piętnował jako karjerowiczów i z którymi odtąd był zdecydowany nie utrzymywać stosunków (co nazywał, nie mając ścisłego poczucia wyrażenia, „być na pieńku”).

Bądź jak bądź, faktem jest, że nazwisko Ibsena i d'Annunzia i niepewność czy jeszcze żyją wywołały zmarszczenie brwi księcia, znajdującego się jeszcze natyle blisko, aby dosłyszec rozmaite uprzejmości pani Tymoleonowej d'Amoncourt. Była to przemiła kobieta, o inteligencji — jak jej uroda — tak wdzięcznej, że jedno z dwojga wystarczyłoby aby czarować. Ale urodzona poza sferą w której żyła obecnie, marząca zrazu tylko o salonie literackim, kolejna i wyłączna przyjaciółka — bynajmniej nie kochanka, życie jej było bardzo czyste — każdego wielkiego pisarza, który jej darowywał wszystkie swoje rękopisy, pisał książki dla niej, przypadkowo weszła w faubourg Saint-Germain, gdzie jej te awantaże literackie stworzyły pewną pozycję. Miała obecnie „sytuację”, nie potrzebując rozdawać innych łask, prócz tych które rozlewała jej obecność. Ale przyzwyczajona niegdyś do lawirowania, do polityki salonowej, do świadczenia usług, zachowała ten nawyk, mimo że już jej to nie było potrzebne. Miała zawsze jakiś ważny sekret do zwierzenia, jakiegoś potentata do przedstawienia, akwarelę mistrza do ofiarowania. Było zapewne we wszystkich tych zbytecznych urokach nieco kłamstwa, ale czyniły one z jej życia błyskotliwie skomplikowaną komedję; faktem było, że ona mianowała prefektów i generałów.

Posuwając się obok mnie, księżna Oriana pozwalała lazurówemu światłu swoich oczu bujać przed sobą, ale w przestrzeni, aby uniknąć ludzi z którymi nie miała ochoty się zetknąć, a których groźną rafę odgadywała niekiedy zdala. Posuwaliśmy się między podwójnym rzędem gości, którzy wiedząc że nigdy nie poznają „Oriany”, chcieli bodaj — jako osobliwość — pokazać ją żonie: „Urszulo, prędko, prędko, chodź zobaczyć panią de Guermantes, rozmawia z tym młodym człowiekiem”. I czuło się, że nie wiele potrzeba, a weszliby na krzesła aby lepiej widzieć, jak na rewji 14 lipca lub na *Grand Prix*.

To nie znaczy, aby salon księżnej Oriany bardziej był arystokratyczny niż salon jej kuzynki. U Oriany bywali ludzie, których księżna Marja nigdy nie zgodziłaby się zaprosić, głównie z powodu męża. Nigdy nie przyjęłaby pani Alfonsowej de Rothschild, która, będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de la Trémouille i księżnej de Sagan — jak i sama Oriana — bywała u Oriany. Toż samo z baronem Hirsch, którego książe Walji przyprowadził do Oriany, ale nie do księżnej Marji, której ów baron nie przypadłby do smaku. Podobnie było z paroma znakomitościami świata bonapartystycznego a nawet republikańskiego, które zainteresowały Oriane, ale których książe Gilbert, zażarty rojalista, nie zechciałby przyjąć. Jego antysemityzm, równie zasadniczy, nie ugiął się przed żadną elegancją, choćby najbardziej uznaną w wielkim świecie, a jeżeli książe przyjmował Swanna, z którym był od niepamiętnych czasów w przyjaźni — będąc zresztą jedynym z Guermantów, który go tytułował Swannem a nie Karolem — to dla tego, że wiedząc iż babka Swanna, protestantka wydana za Żyda, była kochanką księcia de Berri, próbował od czasu do czasu wierzyć w legendę, która czyniła ojca Swanna naturalnym synem księcia krwi. W duchu tej hipotezy (zresztą fałszywej), Swann, syn katolika — będącego synem Burbona — i katoliczki, stawał się czystej krwi chrześcijaninem.

— Jakto, pan nie zna tych wspaniałości! — rzekła do mnie księżna Oriana, mówiąc o pałacu gdzieś się znajdowali. Ale, uczciwszy pałac kuzynki, skwapliwie dodała, że woli tysiąc razy swój „kącik”. — Tutaj to jest cudowne do *zwiedzania*. Ale umarłabym z melancholji, gdyby mi trzeba było spać w pokojach, gdzie się działo tyle wypadków historycznych. Miałabym wrażenie, że zostałam po zamknięciu lokalu, zapomniana, w zamku Blois, w Fontainebleau, nawet w Luwrze, i że jako jedyną ucieczkę od melancholji mogę sobie uprzytomnić, że znajduję się w pokoju, gdzie zamordowano Monaldeschiego. Jako rumianek do poduszki, to nie jest wystarczające. O, jest pani de Saint-Euverte. Byliśmy właśnie u niej na obiedzie. Ponieważ jutro urządza swoją doroczną awanturę, myślałam, że poszła spać. Ale ona nie może przepuścić najmniejszej zabawy. Gdyby ten raut był na wsi, raczej wdrapałaby się na omnibus, niżby się miała nie zjawić.

W istocie, pani de Saint-Euverte przyszła tego wieczora nietyle dla przyjemności nieominięcia cudzej fety, ile aby zabezpieczyć sukces własnej, zwerbować ostatnich gości, i poniekąd odbyć *in extremis* przegląd wojsk, mających nazajutrz paradować na jej *garden party*. Bo od wielu lat goście pani de Saint-Euverte nie byli już zgoła ci sami co dawniej. Niewieście gwiazdy świata Guermantów, wówczas tak nieliczne — obsypywane uprzejmościami pani domu — ściągnęły tam pomału swoje przyjaciółki. Równocześnie, siłą akcji posuwającej się równoległe ale w przeciwnym kierunku, z roku na rok pani de Saint-Euverte redukowałą liczbę osób nieznanymi eleganckiemu światu. Przestała odwiedzać jedną, potem drugą ze znajomych. Przez jakiś czas funkcjonował system „klas”, pozwalający, dzięki wieczorom pokrywanych milczeniem, zaprosić wyeliminowanych, aby się pobawili między sobą, co uwalniało gospodynię od zapraszania ich z godniejszymi osobami. Na co się mogli skarżyć? Czy nie mieli (*panem et circenses*) ptifurów i pięknej muzyki? Toteż, w symetrii poniekąd do dwóch księżnych na wygnaniu, które niegdyś — w początkach *salonu Saint-Euverte* — podpierały, niby dwie karjatydy, jego chwiejący się strop, widziało się w ostatnich latach jedynie dwie osoby z innej klasy zamieszane w ten wielki świat: starą panią de Cambremer, oraz żonę pewnego architekta, kobietę z pięknym głosem, do której talentu często trzeba się było uciekać. Ale nie znając już nikogo u pani de Saint-Euverte, oplakując stracone towarzyski, czując że wszystkich tam rażą, panie te robiły wrażenie istot mrących z zimna, niby dwie jaskółki, które nie odleciały na czas. Toteż następnego roku już ich nie zaproszono; pani de Franquetot próbowała podjąć kroki na rzecz kuzynki, która tak kochała muzykę! Ale ponieważ nie zdołała uzyskać odpowiedzi wyraźniejszej niż te słowa: „Ależ zawsze można wejść posłuchać muzyki, jeżeli

to ją bawi; niema w tem żadnej zbrodni!” pani de Cambremer uznała, że zaproszenie nie jest dość usilne i została w domu.

Wobec takiego przeobrażenia salonu trędowatych w salon wielkich dam (ostatnia forma, na pozór arcyelegancka, jaką ów salon przybrał), można się było zdziwić, iż osoba dająca nazajutrz najświetniejsze przyjęcie sezonu, musi się w przeddzień zwracać z ostatnim apelem do swojej armji. Ale bo też blaski salonu Saint-Euverte istniały jedynie dla tych, których światowość polega wyłącznie na czytaniu sprawozdań z „poranków” i wieczorów w „*Gaulois*” lub w „*Figarze*”, bez osobistych doświadczeń w tej mierze. Dla tych światowców, widzących świat jedynie poprzez gazetę, wyliczenie ambasadorowych angielskiej, austriackiej, etc., księżnych d’Uzès, de la Trémoille, etc., etc., wystarczało aby sobie wyobrażali salon Saint-Euverte jako pierwszy w Paryżu, wówczas gdy był jednym z ostatnich. Nie aby „wzmianki” kłamały. Większość cytowanych osób była tam w istocie. Ale każda z nich przyszła naskutek błagań, grzeczności, usług, z poczuciem że czyni pani de Saint-Euverte niezmierny zaszczyt. Takie salony, raczej unikane niż poszukiwane, dokąd się idzie niejako z bolesnego obowiązku, dają złudzenie jedynie czytelniczkom „kroniki światowej”. Przeoczą zebranie naprawdę eleganckie, gdzie pani domu mogła mieć wszystkie diuszessy płonące żądzą znalezienia się „wśród wybranych”, ale prosi z nich tylko dwie lub trzy i nie stara się o zamieszczenie nazwisk swoich gości w gazecie. To też te osoby, ignorujące lub lekceważące potęgę jaką stała się dziś „reklama”, są eleganckie dla królowej hiszpańskiej, ale nieznanne tłumowi, ponieważ królowa wie, kim one są, a tłum nie wie.

Pani de Saint-Euverte nie była z rzędu tych osób, toteż zabiegliwie przychodziła zgarnąć na jutro wszystkich zaproszonych. Pana de Charlus nie było wśród nich; za nic nie chciał bywać w tym domu. Ale on był źle z tyloma osobami, że pani de Saint-Euverte mogła to złożyć na karb charakteru barona.

Z pewnością, gdyby chodziło tylko o Oriane, pani de Saint-Euverte mogłaby się nie trudzić, skoro jej zaproszenie, dopełnione ustnie, księżna przyjęła z ową uroczą i zawodną uprzejmością, cechującą pewnych Akademików, od których kandydat wychodzi rozczulony, nie wątpiąc że może liczyć na ich głos. Ale była tam nietylko ona. Czy księżkę d’Agrigente przyjdzie? A pani de Durfort? Toteż, aby czuwać nad zbiorem, pani de Saint-Euverte uważała za praktyczniejsze przybyć sama; przymilna wobec jednych, władczą z drugimi, wszystkim pozwalała się domyślać niewiarygodnych uciech, jakich nie spotka się drugi raz, każdemu przyrzekła obecność osoby której widoku ów pragnął, lub osobistości którą właśnie potrzebował spotkać. I ta swojego rodzaju godność, w jaką pani de Saint-Euverte oblekała się jeden raz do roku — niby niektóre urzędy starożytnego świata — osoby wyprawiającej nazajutrz największe *garden party* sezonu, dawała jej chwilową ważność. Lista była ułożona i zamknięta, tak iż przebiegając z wolna salony księżnej Marji, aby szepnąć kolejno każdemu: „Nie zapomni pan (pani) jutro”, pani de Saint-Euverte kosztowała tej ulotnej chwały, że, nie przestając się uśmiechać, odwracała oczy kiedy spostrzegła jakiegoś niepożądanego kopciuszką, lub szlachciurę, wpuszczanego do „Gilberta” na zasadzie koleżeństwa ze szkolnej ławy, ale niezdolnego swoją obecnością w niczem uświetnić jej *garden party*. Wolała nie odzywać się do takiego, aby móc potem powiedzieć: „Zapraszałam ustnie i na nieszczęście nie spotkałam pana”. I tak ona, prosta Saint-Euverte, dokonywała własnymi oczami „przesiewania przez sito” gości księżnej Marji! I czyniąc to, czuła się sama prawdziwą księżną de Guermantes.

Trzeba powiedzieć, że i Oriana również nie miała w swoich ukłonach i uśmiechach tyle swobody ile możnaby przypuszczać. Po części, niewątpliwie, kiedy ich odmawiała, czyniła to dobrowolnie: „Ależ ona mnie nudzi — mówiła Oriana — czyż będę musiała mówić z nią o jej wieczorze przez godzinę?”

Przechodziła jakaś diuszessa, silna brunetka, którą brzydota jej, głupota oraz wybryki młodości wyгнаły nie z towarzystwa, ale z niektórych eleganckich kólek: „Au! — syknęła pani de Guermantes, z owem precyzyjnym i krytycznym spojrzeniem znawcy, kiedy mu ktoś pokaże fałszywy klejnot — przyjmują to tutaj!” Na sam widok osoby „z feletem”, której twarz w dodatku była usiana zbytnią ilością włochatych brodawek, pani de Guermantes stwierdzała niską jakością wieczoru. Chowała się z tą damą w dzieciństwie, ale zerwała z nią wszelkie stosunki; na jej ukłon odpowiedziała jedynie suchym sknieciem głowy. „Nie rozumiem — rzekła do mnie, jakby usprawiedliwiając się — że Marja zaprasza nas razem z temi szumowinami. Możliwe, że pozbierała gości ze wszyst-

kich parafji. U Melanji Pourtales było o wiele lepiej urządzone. Mogła sobie przyjmować święty Synod i Wielki Wschód, jeżeli miała ochotę, ale przynajmniej nie zapraszała nas w te dni”. Ale, w stosunku do wielu osób, Oriana postępowała tak przez nieśmiałość, przez obawę sceny od męża, nie lubiącego aby ona przyjmowała artystów etc. (księżna Marja protegowała ich chętnie: trzeba było uważać, aby nie wpaść u niej na jaką znakomitą śpiewaczką niemiecką), przez jakiś lęk wobec nacjonalizmu, którym, kultywując, jak p. de Charlus, „ducha Guermantów”, gardziła z punktu widzenia światowego (sądzano obecnie, dla uczczenia sztabu generalnego, pewnego generała plebejusza wyżej od niektórych diuków), któremu jednak — wiedząc że ona sama ma opinię „źle myślącej” — robiła szerokie ustępstwa, do tego stopnia, że bała się w tym antysemitycznym środowisku Swannowi podawać rękę. Co do tego punktu uspokoiła się szybko, dowiedziawszy się, że książę Gilbert nie dał Swannowi wejść i że miał z nim jakieś „wyjaśnienia”. Nie groziło jej, że będzie musiała na oczach publiczności rozmawiać z „biednym Lolem”, którego wołała lubić u siebie w domu.

— A to znowu co takiego? — wykrzyknęła księżna Oriana, widząc że jakaś nieduża osoba, wyglądająca dość szczególnie, w czarnej sukni tak skromnej że możnaby ją wziąć za nędzarkę, składa jej, wraz z mężem, głęboki ukłon. Nie poznała jej i dosyć skłonna do tego rodzaju impertynencji, wyprostowała się obrażona, spoglądając bez ukłonu z wyrazem zdumienia:

— Co to za figura, Błażeju? — spytała ze zdziwieniem, gdy p. de Guermantes, chcąc naprawić niegrzeczność żony, kłaniał się damie i ścisnął dłoń jej męża.

— Ależ to pani de Chaussepierre, byłaś bardzo niegrzeczna.

— Ja nie wiem, co to jest Chaussepierre.

— Siostrzeniec starej Chanlivault.

— Nie znam nic podobnego. Kto to jest ta kobieta, czemu ona mi się kłania?

— Ależ znasz ją doskonale, to córka pani de Charleval, Henrjety Montmorency.

— A! znałam bardzo dobrze jej matkę, była urocza, bardzo inteligentna. Pocóż ona wyszła za wszystkich tych ludzi, których ja nie znam? Powiadasz, że się nazywa Chaussepierre? — rzekła sylabizując to słowo z pytającą miną, jakby się bała omylić.

Książę objął ją surowym spojrzeniem:

— Nazywać się Chaussepierre wcale nie jest tak śmieszne jak ci się wydaje. Stary Chaussepierre był bratem owej Charleval, pani de Sennecour oraz wicehrabiny du Merlerault. To ludzie bardzo *dobrze*.

— Och, dosyć! — wykrzyknęła księżna, która jak pogromczyni nie dopuszczała nigdy wrażenia że się dała zastraszyć krwiożerczym spojrzeniem drapieżnika. — Błażeju, bajeczny jesteś. Ja nie wiem, gdzie ty wyszukujesz wszystkie te nazwiska, ale szczerze ci ich wieszczę. Jeżeli nie znałam „Chaussepierre”, w zamian czytałam Balzaka — nie ty jeden go czytałeś — a nawet czytałam Labiche’a. Wysoko cenię *Chanlivault*, dosyć jest w moim guście *Charleval*, ale wyznaję że *du Merlerault* jest arcydziełem! Zresztą, zgódźmy się, że *Chaussepierre* jest też nienajgorsze. Ty skądś pozbierałeś to wszystko, to niepodobieństwo! Pan, który chce pisać książkę, rzekła do mnie, powinien pan zapamiętać *Charleval* i *Merlerault*. Nie znajdzie pan nic lepszego.

— Narazi się poprostu na proces i pójdzie do więzienia; dajesz mu bardzo złe rady, Oriano.

— Mam dla niego nadzieję, że znajdzie łatwo młodsze osoby, kiedy ma ochotę prosić o złe rady, a zwłaszcza wprowadzić je w czyn. Ale jeżeli nie zamierza popełnić nic gorszego niż książkę!...

Dosyć daleko od nas, wspaniała i dumna młoda kobieta odcinała się harmonijnie w białej sukni, całej z diamentów i z tiulu. Pani de Guermantes spojrzała na nią w chwili gdy młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem<sup>945</sup>.

— Pańska siostra jest wszędzie najpiękniejsza; urocza jest dziś wieczór — rzekła, biorąc krzesło — do księcia de Chimay, który przechodził.

Pułkownik de Froberville (miał wujka generała tego samego nazwiska) usiadł koło nas, zarówno jak p. de Bréauté, podczas gdy p. de Vaugoubert, kołysząc się (przez nadmiar

<sup>945</sup>młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem — Proust wprowadza tu przelotnie, robiąc jej komplement, autentyczną hrabinę de Noailles, poetkę, siostrę księżnej de Chimay. [przypis redakcyjny]



grzeczności, który zachował nawet kiedy grał w tenisa, przyczem, przez to że przeproszał wysoko postawione osoby zanim odbił piłkę, nieuchronnie skazywał partję na przegranie), wracał do pana de Charlus (dotąd niemal zawiniętego w olbrzymią spódnicę hrabiny Molé, którą oficjalnie wielbił ponad wszystkie inne kobiety) i to przypadkowo w chwili, gdy grupa członków nowego ciała dyplomatycznego kłaniała się baronowi. Na widok młodego sekretarza o wyrazie szczególnie inteligentnym, p. de Vaugoubert wpił w pana de Charlus uśmiech, w którym widocznie wykwiłało jedno pytanie. P. de Charlus byłby może chętnie skompromitował kogoś, ale czując się samemu skompromitowanym przez ten uśmiech, mogący mieć tylko jedno znaczenie, wściekł się:

— Absolutnie nie wiem nic, proszę pana, zachowaj pan swoje ciekawości dla siebie. Mnie one zostawiają zupełnie obojętnym. Zresztą, w danym wypadku, trafia pan jak kulą w płot. Sądzę, że ten młody człowiek jest wręcz przeciwnie.

Tu p. de Charlus, wściekły że został wystawiony na sztych przez głupca, nie mówił prawdy. Sekretarz — w razie gdyby baron miał słusność — stanowiłby wyjątek w tej ambasadzie. Była ona w istocie złożona z figur nader różnych, po części bardzo miernych, tak że, jeżeli się szukało pobudki ich doboru, można ją było odkryć jedynie w inwersji. Stawiając na czele tej małej Sodomy dyplomatycznej ambasadora lubiącego — wręcz przeciwnie — kobiety z komiczną przesadą kobieciarza z wodwilu, który dowodził prawidłowo swoim bataljonem zbrojeńców, powodowano się jakgdyby prawem kontrastu. Mimo tego co miał przed oczami, ambasador ów nie wierzył w inwersję. Dał tego niebawem dowód, wydając swoją siostrę za *chargé d'affaires*, którego uważał bardzo fałszywie za dziwkarza. Z tą chwilą stał się trochę krępujący i niebawem zastąpiono go nową Eksceleńcją, która zapewniła jednolitość zespołu. Inne ambasady starały się rywalizować z tą, ale nie zdołały jej odebrać pierwszeństwa (jak na „konkursie generalnym”, gdzie jedno liceum zdobywa je zawsze), i trzeba było dziesięciu lat czasu, aby — gdy młodzi *attachés* innego pokroju wdarli się w tę tak zgraną całość — inna ambasada zdołała wreszcie wydrzeć żalostną palmę i kroczyć na czele.

Uspokojona co do obawy, że będzie musiała rozmawiać ze Swannem, pani de Guermantes była jedynie ciekawa rozmowy, jaką ów miał z panem domu.

— Czy pan wie, o czym mówili? — spytał książę Błazej pana de Bréauté.

— Słyszałem — odparł — że o jednoaktówce, którą pisarz Bergotte wystawił u Swannów. To było zresztą czarujące. Ale zdaje się, że aktor ucharakteryzował się na Gilberta, którego zresztą imię Bergotte w istocie chciał odmalować.

— O, toby mnie bawiło zobaczyć jak ktoś robi Gilberta — rzekła księżna uśmiechając się w zamyśleniu.

— Z powodu tej komedyjki — odparł pan de Bréauté wysuwając szczękę gryzonia — Gilbert poprosił o wyjaśnienie Swanna, który ograniczył się do odpowiedzi, uznanej zresztą powszechnie za bardzo dowcipną: „Ależ wcale nie, to nic a nic do ciebie niepodobne, ty jesteś o wiele śmieszniejszy!” — Zdaje się zresztą (dodał pan de Bréauté), że komedyjka jest urocza. Pani Molé była na tem i szalenie się bawiła.

— Jakto, pani Molé bywa tam? — rzekła księżna zdziwiona. — A, to robota Mémé! Zawsze się tak kończy z temi domami. Pewnego dnia wszyscy zaczynają tam chodzić, i ja, która dla zasady uprawiałam dobrowolną abstynencję, nudzę się wreszcie sama w swoim kącie.

Już, od tej relacji pana de Bréauté, księżna Oriana przyjęła, jak widzieliśmy, nowy punkt widzenia, jeżeli nie co do salonu Swannów, to przynajmniej co do hipotezy spotkania Swanna za chwilę. — Wyjaśnienie, jakie pan nam daje, rzekł do pana de Bréauté pułkownik de Froberville, jest najzupełniej opaczne. Mam swoje przyczyny aby wiedzieć o tem. Książę Gilbert poprostu zmył głowę Swannowi, jak mówili nasi ojcowie, i dał mu do zrozumienia, że nie ma się co pokazywać u niego, zważywszy poglądy z jakimi się afiszuje. I wedle mnie, wuj Gilbert miał po tysiąc razy słusność, nietylko że mu zmył głowę, ale powinien był skończyć od pół roku z tym jawnym dreyfusistą.

Biedny Vaugoubert, stawszy się tym razem sam z nazbyt marudnego tenisisty bezwładną piłką tenisową odbijaną bez ceremonji, znalazł się tuż koło księżnej Oriany, której przedłożył swoje atencje. Spotkał się z nieszczęśliwym przyjęciem, Oriana bowiem żywiła przeświadczenie, że wszyscy dyplomaci lub politycy z jej świata są durnie.

P. de Froberville siłą rzeczy skorzystał z uprzywilejowanej sytuacji, jaką od niedawna zyskali wojskowi w towarzystwie. Na nieszczęście, o ile żona którą pojął, była bardzo autentyczną krewną Guermantów, była zarazem bardzo ubogą krewną, że zaś sam pułkownik stracił majątek, nie mieli dużo stosunków. Byli to typowi ludzie, których się pomija, poza uroczystymi okazjami, kiedy mieli szczęście stracić krewnego lub asystować jego zaślubinom. Wówczas tworzyli istotnie część wspólnoty wielkiego świata, jak owi nominalni katolicy, którzy zbliżają się do stołu pańskiego jedynie raz do roku. Materialne ich położenie byłoby nawet oplakane, gdyby pani de Saint-Euverte, wierna dawnemu przywiązaniu do nieboszczyka generała de Froberville, nie wspomagała na wszystkie sposoby tego stadła, dostarczając sukien i rozrywek dwom córeczkom. Ale pułkownik, który uchodził za „dobrego chłopą”, nie miał duszy wdzięcznej. Zawistny był o splendory swej dobrodziejki, która sławiła je sama bez wytchnienia i miary. Doroczne *garden party* było dla niego, dla jego żony i dzieci cudowną przyjemnością, której nie wyrzekliby się za skarby świata, ale przyjemnością zatrutą myślą o satysfakcjach, jakie z tej fety czerpała pani de Saint-Euverte. Obwieszczenie *garden-party* w dziennikach, które następnie, po szczegółowym sprawozdaniu, dodawały machiawelicznie: „Powrócimy do tej pięknej zabawy”, dodatkowe szczegóły dotyczące toalet, podawane przez kilka dni z rzędu, wszystko to sprawiało państwu de Froberville takie cierpienie, że, mimo iż dość pozbawieni rozrywek i wiedząc iż mogą liczyć na to popołudnie, dochodzili co roku do pragnienia aby niepogoda udaremniła zabawę, spoglądali na barometr i witali z rozkoszą zapowiedź burzy grożącej popsuciem festynu.

— Nie będę z tobą dyskutował o polityce, Froberville — rzekł pan de Guermantes — ale co się tyczy Swanna, szczerze mogę powiedzieć, że jego postępowanie wobec nas było czemś bez przykładu. On, wprowadzony niegdyś w towarzystwo przez nas, przez księcia de Chartres, dziś, powiadają, jest otwarciem dreyfusistą! Nigdy nie byłbym się tego po nim spodziewał; on, taki smakosz, umysł pozytywny, kolekcjoner, amator starych książek, członek Jockey-clubu, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem, znawca dobrych firm (przysyłał nam najlepsze porto jakie istnieje), miłośnik sztuki, ojciec rodziny... Ha, bardzo się zawiodłem! Nie mówię o sobie, wiadomo że ja jestem stary cymbał, którego zdanie się nie liczy, ot sobie popychadło; ale choćby dla samej Oriany, nie powinien był tego robić, powinien się być otwarcie wyprzeć Żydów i popleczników skazanego. — Tak, po przyjaźni, jaką mu zawsze okazywała żona — podjął książkę, który widocznie uważał, że potępić Dreyfusa jako zdrajcę stanu, jakiegobądź by się miało przekonanie o jego winie, było rodzajem podziękowania za przyjęcie doznane w faubourg Saint-Germain — powinien się być zrzucić z tej solidarności. Bo spytaj się Oriany, ona zawsze miała słabość do niego.

Księżna, sądząc że naiwny i spokojny ton przyda dramatycznej szczerości jej słowom, rzekła głosem uczenicy, jakgdyby pozwalając poprostu prawdzie wyjść ze swoich ust i barwiąc jedynie oczy odcieniem melancholji:

— Ależ tak, w istocie, nie mam żadnego powodu ukrywać, że byłam szczerze przywiązana do Lola.

— O widzisz, ja jej tego nie sufluję. I po tem wszystkim, on posuwa niewdzięczność do tego aby być dreyfusistą!

— A propos dreyfusistów — rzekłem — zdaje się, że prinż Von należy do nich.

— A, dobrze pan robi, że mi pan mówi o nim — wykrzyknął p. de Guermantes; byłbym zapomniał, że mnie zaprosił na poniedziałek na obiad. Czy on jest dreyfusistą czy nie, jest mi całkowicie obojętne; to jest cudzoziemiec. O to się tyle troszczę, co o króla murzyńskiego. Z Francuzem, to inna rzecz. Prawda, że Swann jest żyd. Ale do dzisiejszego dnia — wybac mi Froberville — miałem tę słabość, aby myśleć, że żyd może być Francuzem, rozumiem żyd przyzwoity, człowiek z towarzystwa. Otóż Swann był tem wszystkim w całym znaczeniu słowa. I cóż, zmusza mnie do uznania że się omylił, skoro bierze stronę tego Dreyfusa (który, winny czy nie winny, nie należy wcale do jego sfery, którego nie byłby nigdy spotkał), przeciw towarzystwu które go traktowało jak jednego ze swoich. Niema co mówić, myśmy wszyscy ręczyli za Swanna, byłbym odpowiadał za jego patriotyzm jak za własny. A, źle się nam odwdzięczył! Przyznaję, że z jego strony nigdybym się tego nie spodziewał. Lepiej go sądziłem. Był inteligentny (w swoim rodzaju oczywiście). Zapewne, wiem, że zrobił już jedno paskustwo, to swoje hanieb-

ne małżeństwo. Czy wiesz, komu małżeństwo Swanna sprawiło wielką przykrość? Mojej żonie. Oriana ma często to, co bym nazwał afektacją chłodu. Ale w gruncie ona czuje niesłychanie silnie.

Pani de Guermantes, zachwycona tą analizą swego charakteru, słuchała ze skromną miną, ale nie mówiła ani słowa, nie chcąc wprost potwierdzać pochwały, a zwłaszcza bojąc się ją przerwać. P. de Guermantes mógłby mówić godzinę na ten temat, Oriana nie ruszyłaby się z miejsca, jak podczas muzyki.

— Otóż — ciągnął książę — przypominam sobie, że kiedy się dowiedziała o małżeństwie Swanna, uczuła się jakby dotknięta; uważała, że to nieładnie ze strony człowieka, któremu okazywaliśmy tyle przyjaźni. Bardzo lubiła Swanna, strasznie ją to zmartwiło. Prawda, Oriano?

Pani de Guermantes sądziła, iż powinna odpowiedzieć na wezwanie tak bezpośrednie, co do faktycznego punktu, pozwalającego jej dyskretnie potwierdzić pochwały, które — czuła to — już się skończyły. Nieśmiałym i prostym tonem, z miną tembardziej sztuczną że chciała aby wyrażała „czucie”, rzekła z pełną umiaru słodyczą:

— To prawda, Błżej się nie myli.

— A przecież to jeszcze nie było to samo! Cóż chcecie, miłość to miłość, mimo że, mojem zdaniem, powinna zachować pewne granice. Usprawiedliwiłbym jeszcze młodego człowieka, smarkacza któryby się dał porwać utopiom. Ale Swann, człowiek inteligentny, człowiek wypróbowanej delikatności, znawca obrazów, sztuki, zaufany księcia de Chartres, samego Gilberta!

Ton, jakim mówił to pan de Guermantes, był zresztą całkiem sympatyczny, bez cienia owej pospolitości, jaką książę zdradzał zbyt często. Mówił smutno, z lekkim oburzeniem, ale wszystko oddychało w nim ową łagodną powagą, stanowiącą soczysty i szeroki wdzięk pewnych figur Rembrandta, burmestra Six na przykład. Czulo się, że niemoralność postępków Swanna w sprawie Dreyfusa nie nastęcza się nawet księciu jako problemat, tak dalece nie miał wątpliwości w tej mierze; był niby stroskany ojciec widzący jak jeden z synów, dla którego wychowania poniósł wielkie ofiary, dobrowolnie rujnuje wspaniałą sytuację jaką mu ojciec stworzył i hańbi uczciwe nazwisko wybrykami niedopuszczalnymi wedle zasad lub przesądów rodziny. Prawda, że p. de Guermantes nie okazał niegdyś równie głębokiego i bolesnego zdumienia, kiedy się dowiedział, że Saint-Loup jest dreyfusistą. Ale, po pierwsze, uważał swego siostrzeńca za zbłąkanego młodego chłopca, z którego strony — dopóki się nie poprawi — nic nie może dziwić; podczas gdy Swann był tem, co pan de Guermantes nazywał „człowiekiem zrównoważonym, człowiekiem mającym pierwszorzędną pozycję”. Powtóre, co najważniejsze, od owej epoki upłynęło sporo czasu, w ciągu którego, o ile, z historycznego punktu widzenia, wypadki mogły poczęści usprawiedliwiać tezę dreyfusistowską, opozycja antydreyfusowska zdwoiła gwałtowność i z czysto politycznej zrazu stała się obecnie socjalną. Była to teraz kwestja militarysty, patriotyzmu; fale gniewu wzniecone w społeczeństwie miały czas nabrać siły, jakiej nigdy nie mają w początkach burzy.

— Widzicie — podjął p. de Guermantes — nawet z punktu widzenia swoich drogich żydów, skoro chce ich koniecznie wspierać, Swann palnął głupstwo o nieobliczalnej doniosłości. Dowiódł, że oni są poniekąd zmuszeni używać pomocy komukolwiek ze swojej rasy, nawet jeżeli go nie znają. To niebezpieczeństwo publiczne! Byliśmy niewątpliwie zanadto łatwi, a gaffa, jaką popełnia Swann, będzie miała tem większy resonans, że on był szanowany, nawet przyjmowany, i że był niemal jedynym żydem którego się znało. Świat powie sobie: *Ab uno disce omnes*. (Satysfakcja, że znalazł tak z punktu w pamięci odpowiedni cytat, rozjaśniła dumnym uśmiechem melancholję zdradzonego magnata).

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co naprawdę zaszło między księciem Gilbertem a Swannem i zobaczyć Swanna, o ile nie opuścił jeszcze zabawy.

— Powiem panu — rzekła księżna, której zwierzyłem swoje pragnienie — że mnie nie zależy specjalnie na tem aby widzieć Swanna, bo zdaje się, wedle tego co mówiono przed chwilą u pani de Saint-Euverte, on chciałby przed śmiercią, żeby się zapoznała z jego żoną i córką. Mój Boże, boleję niezmiernie nad tem że on jest chory, ale przecież mam nadzieję że to nie takie poważne. A przytem, ostatecznie, to nie jest powód; to byłoby doprawdy za łatwe! Pisarzowi bez talentu wystarczyłoby tylko powiedzieć: „Gło-

sujcie za mną do Akademji, bo moja żona ma umrzeć i chcę jej dać tę ostatnią radość”. Nie byłoby salonów, gdyby się trzeba było poznawać ze wszystkimi umierającymi. Mój stangret mógłby mi powiedzieć: „Moja córka jest bardzo chora, niech mnie pani wprowadzi do księżnej Parmy”. Uwielbiam Lola i sprawiłoby mi wielką przykrość odmówić mu czegoś, toteż wolę raczej nie dać mu sposobności proszenia mnie o to. Spodziewam się z całego serca, że nie jest umierający jak powiada, ale doprawdy, gdyby się coś podobnego miało zdarzyć, to nie byłby dla mnie moment zawierania znajomości z dwiema kreaturami, które mnie pozbawiły na piętnaście lat najmilszego z przyjaciół. I zostawiłby mi je na karku wówczas, gdy ta znajomość nie ułatwiłaby mi nawet widywania jego samego, skoro by już nie żył!

Tymczasem p. de Bréauté wciąż przeżuwał kłam, jaki mu zadał pułkownik de Froberville.

— Nie wątpię o ścisłości pańskich informacji, drogi pułkowniku — rzekł — ale ja mam znów swoje, z dobrego źródła. Książę de la Tour d’Auvergne powtórzył mi wszystko.

— Dziwię się, że człowiek tak świątły jak ty może jeszcze mówić „książę de la Tour d’Auvergne”, przerwał p. de Guermantes; wiesz przecie, że nie jest nim ani trochę. Istnieje już tylko jeden członek tej rodziny. To wuj Oriany, książę de Bouillon.

— Brat pani de Villeparisis? — spytałem, przypominając sobie, że ona jest z domu de Bouillon.

— Właśnie. Oriano, kłania ci się pani de Lambresac.

W istocie, widziało się chwilami rodzący się i biegnący niby spadająca gwiazda słaby uśmiech, przeznaczony przez księżnę de Lambresac dla jakiejś osoby, którą poznała. Ale ten uśmiech, zamiast się precyzować w czynnym twierdzeniu, w mowie niemej lecz jasnej, roztopiał się prawie natychmiast w jakiejś idealnej ekstazie, która nie rozróżniała nic, podczas gdy głowa pochylała się gestem namaszczonego błogosławieństwa, przypominającym ruch, jakim pochyla się ku ciżbie komuniantek zramolizowany nieco prałat. Pani de Lambresac nie była zramolizowana ani trochę. Ale znałem już ten swoisty gest staroświeckiej dystynkcji. W Combray i w Paryżu, wszystkie przyjaciółki babki miały zwyczaj się witać w towarzystwie z miną równie seraficzną co gdyby spostrzegły kogoś znajomego w kościele w chwili Podniesienia lub na pogrzebie i przesyłały mu lekkie dzieńdobry, kończące się modlitwą. Otóż, słowa pana de Guermantes miały dopełnić tego zestawienia.

— Ależ pan widział księcia de Bouillon — rzekł. — Wychodził właśnie z mojej biblioteki w chwili gdy pan wchodził: ten jegomość trochę przysadkowaty i całkiem siwy.

Był to ten, którego ja wziąłem za łyka z Combray, a w którym teraz odnajdywałem w pamięci podobieństwo z panią de Villeparisis. Podobieństwo zamierających ukłonów księżnej de Lambresac z ukłonami przyjaciółek babki zaczynało mnie interesować, dowodząc, że w zamkniętych i ciasnych środowiskach, bądź drobnego mieszczaństwa bądź arystokracji, dawne maniery przechowują się, pozwalając nam, niby archeologowi, odnaleźć, czem mogło być wychowanie, oraz cząstka duszy jaką ono odbija, w czasach wicehrabiego d’Arlincourt i Loizy Puget. Doskonała zgodność wyglądu księcia de Bouillon z rówieśnym mu małomieszczaninem z Combray lepiej mi teraz przypomniła (co mnie już tak uderzyło, kiedy widział dziadka Roberta de Saint-Loup, księcia de la Rochefoucauld, na dagerotypie, gdzie, jako strój, mina i wzięcie, zupełnie był podobny do mego wujecznego dziadka), że różnice społeczne, a także indywidualne, stapiają się na odległość we wspólnym kolorycie epoki. Faktem jest, że podobieństwo stroju, a także odbijający się w twarzy odbłask ducha epoki, zajmują w danej osobie miejsce znacznie ważniejsze niż kasta tej osoby, wypełniająca je jedynie w miłości własnej zainteresowanego i w wyobraźni drugich. Aby sobie zdać sprawę, że wielki pan z czasu Ludwika Filipa mniej różni się od mieszczańca z czasu Ludwika Filipa niż od wielkiego pana z czasu Ludwika XV, na to nie potrzeba zachodzić do galerji w Luwrze.

W tej chwili, muzyk bawarski z długimi włosami, protegowany księżnej Marji, skłonił się Orianie. Odpowiedziała skinieniem głowy, ale książę, wściekły że żona wita się z kimś kogo on nie zna, z kimś wyglądającym do tego dość osobliwie i wedle wiedzy pana de Guermantes mającym bardzo złą reputację, zwrócił się do żony z pytającą i groźną miną, jakgdyby mówił: „Co to za figura?” Położenie biednej pani de Guermantes było już dość skomplikowane i gdyby muzyk miał trochę litości nad tą małżonką-męczennicą, byłby się oddalił co żywo. Ale czy to buntując się przeciw upokorzeniu, jakie mu zadano

publicznie wobec najstarszych przyjaciół klubowych księcia Błażeja (których obecność spowodowała może potrosze jego milczący ukłon), aby okazać że z pełnym prawem, nie zaś przez uzurpację ukłonił się pani de Guermantes, czy to idąc za tajemnym i nieodpartem natchnieniem gaffy, która go popchnęła — w chwili gdy powinien był zawierzyć raczej intuicji — do zastosowania ścisłej litery form towarzyskich, muzyk podszedł jeszcze bliżej i rzekł: „Księżno, ośmielam się prosić o zaszczyt przedstawienia mnie księciu”. Pani de Guermantes była bardzo nieszczęśliwa. Ale ostatecznie, mimo iż zdradzana jako żona, była jednak księżną de Guermantes i nie mogła się uznać za wyzutą z prawa przedstawienia mężowi osób, które znała.

— Błażeju — rzekła — pozwól sobie przedstawić pana d’Herweck.

— Nie pytam się, czy pani będzie jutro u pani de Saint-Euverte — rzekł pułkownik de Froberville do pani de Guermantes, aby rozprószyć przykre wrażenie, spowodowane niewczesną pretensją pana d’Herweck. — Cały Paryż tam będzie.

Równocześnie, obracając się jednym ruchem i całym ciałem ku niedyskretnemu muzykowi, książę de Guermantes, monumentalny, niemy, rozgniewany, podobny do grzmiącego Jowisza, stał tak nieruchomo kilka sekund, z oczami płonącymi gniewem i zdumieniem, z kędzierzawymi włosami, robiącymi wrażenie że wytrysły z krateru. Następnie, jakby pod działaniem impulsu, który wyłącznie pozwalał mu dopełnić żądanej grzeczności, wyzywając postawą biorąc niejako obecnych na świadków że nie zna bawarskiego muzyka, krzyżując za plecami ręce w białych rękawiczkach, pochylił się i wymierzył muzykowi ukłon tak głęboki, nacechowany takim zdumieniem i wściekłością, tak gwałtowny i nagły, że drżący artysta cofnął się pochylając się równocześnie, aby nie otrzymać strasznego ciosu głową w brzuch.

— Ale... bo właśnie ja nie będę w Paryżu — odpowiedziała księżna panu de Froberville. — Powiem panu (do czego nie powinnam się przyznać), że doszłam swoich lat, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury. To wstyd, ale tak już jest. Zatem, aby naprawić tę występłą ignorancję, postanowiłam wybrać się jutro obejrzeć te witraże.

Pan de Bréauté uśmiechnął się dyskretnie. Zrozumiał w istocie, że jeżeli księżna mogła wytrwać „do swoich lat”, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury, ta artystyczna wyprawa nie nabrała nagle charakteru niecierpiącego zwłoki i mogła bez niebezpieczeństwa, skoro się ją odwlekało przez więcej niż dwadzieścia pięć lat, zaczekać jeszcze dwadzieścia cztery godzin. Nagły projekt księżnej był poprostu dekretem, w stylu Guermantów, stwierdzającym że salon Saint-Euverte stanowczo nie jest domem naprawdę *dobrze*, ale domem gdzie zaprasza się kogoś poto aby się nim pochwalić w kronice „Gaulois”; domem dającym piętno prawdziwej elegancji tym, lub w każdym razie tej (jeżeli ona będzie tą jedyną), której się tam nie zobaczy. Delikatna uciecha pana de Bréauté, zdwojona tą poetycką przyjemnością, jakiej kosztowali ludzie światowi, widząc panią de Guermantes robiącą rzeczy, których własna ich skromniejsza sytuacja nie pozwalała im naśladować, ale których sama wizja wywoływała u nich uśmiech chłopka przywiązanego do gleby, gdy widzi ludzi swobodniejszych i szczęśliwszych, przechodzących ponad nim, ta subtelna przyjemność nie miała żadnego podobieństwa z utajonym lecz bezgranicznym uczuciem szczęścia, jakiego doznał równocześnie p. de Froberville.

Wysiłki, jakie czynił p. de Froberville aby ściszyć śmiech, sprawiły, że poczerwieniał jak kogut; mimo to, przerywając słowa czkawką radości, wykrzyknął miłosiernie: — Och! biedna ciocia Saint-Euverte, ona to odchoruje! Nie! nieszczęśliwa kobieta nie będzie miała swojej księżnej, co za cios, ależ ona może kipnąć od tego! — dodał skręcając się od śmiechu. I w upojeniu nie mógł się wstrzymać od przebierania nogami i zacierania rąk. Uśmiechając się jednym okiem i kątem ust do pana de Froberville, oceniając jego uprzejmą intencję, ale zarazem śmiertelną nudę jaką wydzielał, pani de Guermantes zdecydowała się wreszcie opuścić pułkownika.

— Proszę pana, *zmuszona* już jestem pożegnać się z panem — rzekła wstając z wierzajem melancholijnej rezygnacji i tak jakby to było nieszczęście dla niej. Pod czarem jej modrych oczu, głos jej, słodki i melodyjny, przywodził na myśl poetyczną skargę wróżki. — Błażej chce, żebyśmy podeszła trochę do Marji.

W rzeczywistości miała dość Froberville’a, który bez przerwy zazdrościł jej, że jedzie do Montfort l’Amaury, podczas gdy księżna była pewna, że on słyszy o tych witrażach

pierwszy raz i że, z drugiej strony, za nic nie opuściłby podwieczorku u pani de Saint-Euverte.

— Do widzenia, za ledwie z panem mówiłam, tak już jest w świecie, ludzie się nie widują, nie mówią sobie tego co by chcieli powiedzieć, zresztą wszędzie w życiu to samo! Miejmy nadzieję, że choć po śmierci świat będzie lepiej urządzony. Przynajmniej nie będzie się potrzeba wciąż dekoltować. A i to jeszcze kto wie. Będzie się może wystawiało swoje kości i swoje robaki na wielkie święta. Czemu nie? Ot, niech pan patrzy na starą Rampillon, czy pan znajdzie wielką różnicę między tem a szkieletem w wyciętej sukni. Prawda że ma potemu prawa, bo ma conajmniej sto lat. Była już jednym z owych świętych monstrów, przed którymi nie chciałam bić czołem, kiedy wchodziłam w świat. Myślałam, że ona umarła od bardzo dawna, co byłoby zresztą jedynym wytłumaczeniem widowiska jakie nam daje. To wstrząsające i liturgiczne. Istne *Campo Santo*!

Księżna opuściła pułkownika, on zbliżył się jeszcze: „Chciałbym pani jeszcze coś powiedzieć”... Trochę podrażniona, odrzekła wyniośle: „O co chodzi?” A on, obawiając się, aby w ostatniej chwili nie zmieniła planów co do Montfort l'Amaury, dodał:

— Nie śmiałem tego mówić z powodu pani de Saint-Euverte, aby jej nie zrobić przykrości, ale skoro pani nie zamierza u niej być, mogę powiedzieć, że cieszę się z tego dla pani, bo tam jest odra.

— Och, Boże! — rzekła Oriana, która się bała chorób. — Ale to dla mnie nie ma znaczenia, przechodziłam już odrę. Nie można tego mieć dwa razy.

— To lekarze tak mówią; znam ludzi, którzy mieli odrę cztery razy. Słowem, ostrzegłem panią.

Co się tyczy samego pułkownika, musiałby chyba naprawdę mieć tę fikcyjną odrę i być przykuty do łóżka, aby się zdecydował opuścić ową *garden-party*, oczekiwane od tyłu miesiący. Czekala go tam przyjemność oglądania tyłu elegancji! i większa jeszcze przyjemność oglądania pewnych rzeczy chybionych, a zwłaszcza rozkosz chwalenia się długi czas elegancjami, a ubolewania nad tem co było chybione — przesadzając lub zmyślając.

Korzystając z tego że księżna zmieniała miejsce, wstałem również i udałem się ku palarni, dowiedzieć się o Swanna.

— Niech pan nie wierzy ani słówka temu co mówił Babal, rzekła księżna. Nigdy ta gąska Molé nie wpakowałaby się w taką historję. Tak tylko opowiadają, żeby nas ściągnąć. U Swannów nikt nie bywa i nikt ich nie zaprasza. On sam to przyznaje. „Siedzimy sobie we dwójkę przy kominku”. Ponieważ on mówi zawsze *my*, nie jak król, ale za swoją żonę, nie dopytuję się bliżej. Ale ja mam dobre informacje — dodała.

Minęliśmy dwóch młodych ludzi, których uderzająca i odmienna uroda czerpała początek z jednej kobiety. Byli to dwaj synowie pani de Surgis, nowej kochanki księcia Błażeja. Lśnili wspaniałościami swojej matki, ale każdy wziął inne. W jednego przeszła, falując w męskim ciele, królewska postawa pani de Surgis; ta sama gorąca, rudawa i perłowa bladeść napływała do marmurowych lic matki i syna; drugi brat dostał w zamian jej greckie czoło, idealny nos, posągową szyję, niezgłębione oczy. W ten sposób dwójka ich uroda, utworzona z różnych darów jakie między nich rozdzieliła bogini, dawała abstrakcyjną przyjemność myśli, że przyczyna tej piękności znajduje się zewnątrz nich; możnaby rzec, iż zasadnicze wdzięki matki wcieliły się w dwa różne ciała, że jeden z tych młodych ludzi był postawą matki i jej cerą, drugi jej spojrzeniem, niby owe boskie istoty, będące jedynie siłą i pięknnością Jowisza lub Minerwy. Byli pełni szacunku dla księcia de Guermantes, o którym mówili: „To wielki przyjaciel naszych rodziców”; mimo to, starszy uznał, że bezpieczniej jest nie witać się z księżną, której niechęć do swojej matki — nie rozumiejąc może powodów tej niechęci — znał; toteż na nasz widok lekko odwrócił głowę. Młodszy, naśladowujący we wszystkim brata, ponieważ, będąc mało inteligentny i co więcej krótkowidz, nie odważył się mieć własnego zdania, pochylił głowę pod tym samym kątem; zaczęli wsunęli się obaj do sali gry, jeden za drugim, podobni dwóm alegorycznym postaciom.

W chwili gdy miał wejść do tej sali, zatrzymała mnie piękna jeszcze margrabina de Citri, prawie z pianą na ustach. Dość szlachetnie urodzona, marzyła o świetnym małżeństwie i zrobiła je w istocie wychodząc za pana de Citri, którego prababka była z domu Aumale-Lorraine. Ale ledwo zaznała tej satysfakcji; opozycyjny jej charakter nabrał do

wielkiego świata wstrętu, który nie wykluczał zresztą światowości. Nie tylko będąc gdzieś na przyjęciu drwiła sobie ze wszystkich, ale drwiny te miały coś tak gwałtownego, że nawet ostry śmiech nie wystarczał i mienił się w chrapliwy świst. — Ha! — rzekła do mnie wskazując księżnę, która, roztawszy się ze mną była już dość daleko — aż się coś we mnie przewraca, że ona może prowadzić takie życie.

Czy te słowa były okrzykiem rozjuszonej świętej, która dziwi się, że poganie nie cisną się sami do prawdy, czy anarchisty spragnionego rzezi? W każdym razie, wykrzyknik ten był bardzo nieuzasadniony. Najpierw, życie pani de Guermantes bardzo mało się różniło (poza oburzeniem) od życia pani de Citri. Pani de Citri zdumiewała się, widząc Oriane zdolną do tego śmiertelnego poświęcenia: wybrać się na wieczór księżnej Marji! Trzeba dodać, w danym wypadku, że pani de Citri szczerze lubiła księżnę Marję, w istocie bardzo dobrą, i wiedziała, że przychodząc na jej wieczór, sprawi jej wielką przyjemność. Toteż, aby być na tym rauciu, odprosiła tancerkę, którą uważała za geniusza a która miała ją wtajemniczyć w misterja rosyjskiej choreografji. Inną przyczyną, odbierającą pewną wartość wściekłym atakom pani de Citri na widok Oriany witającej się z tym lub owym, było to, że pani de Guermantes zdradzała objawy tej samej przywary, która trawiła panią de Citri, mimo iż o wiele mniej posuniętej. Widzieliśmy zresztą, że miała jej zarodki od urodzenia. Inteligentniejsza przytem od pani de Citri, Oriana miałaby więcej od niej praw do tego nihilizmu (który nie był jedynie światowy); ale faktem jest, że pewne przymioty raczej pomagają znosić wady drugich niż każą od nich cierpieć; człowiek bardzo niepospolity mniej będzie zazwyczaj zwracał uwagi na czyjąś głupotę, niżby to uczynił głupiec. Opisałiśmy natyle obszernie rodzaj dowcipu księżnej, aby dowiedzieć, że, o ile nie miał on nic wspólnego z wysoką inteligencją, był przynajmniej dowcipem, dowcipem umiejącym wyzyskać (jak czyni tłumacz) rozmaite formy składni. Otóż nic podobnego nie dawało pani de Citri praw do pogardzania cechami tak podobnymi do jej własnych. Uważała wszystkich za idjotów; ale w rozmowie, w listach, okazywała się raczej niższa od ludzi, których traktowała z taką wzgardą. Miała zresztą taką potrzebę zniszczenia, że kiedy prawie zupełnie wyrzekła się świata, przyjemności, których szukała wówczas, uległy jedna po drugiej jej straszliwej sile destrukcyjnej. Porzuciwszy bale i rauty dla wieczorów muzycznych, zaczęła mówić: „Pani lubi muzykę? To zależy od chwili. Ale jakież to może być nudne! Och, Beethoven, co za piła!” O Wagnerze, potem o Francku, o Debussym, nie zadawała sobie nawet trudu mówienia „piła”; poprzestawała na ruchu ręką, jakby coś piłowała.

Niebawem, nudne stało się wszystko. „Jakie to nudne, piękne rzeczy! Och! obrazy, to można oszaleć!” „Jaką pan ma słuszność, to takie nudne pisać listy”. W końcu oświadczyła nam, że samo życie to jest piła, przyczem trudno było zgadnąć, gdzie znajduje skalę porównania.

Nie wiem, czy to dla tego co księżna Oriana owego pierwszego wieczora, kiedy byłem u niej na obiedzie — powiedziała o tym pokoju, ale sala gry czy palarnia, ze swoją wzorzystą posadzką, ze swemi trójnogami, postaciami bogów i zwierząt, które mierzyły mnie wzrokiem, sfinksami wyciągniętemu na poręczach, a zwłaszcza ze swoim olbrzymim stołem z marmuru czy z emaljowanej mozaiki, okrytym symbolicznymi znakami, mniej lub więcej naśladowanymi ze sztuki etruskiej i egipskiej, ta sala do gry zrobiła na mnie wrażenie iście czarnoksięskiego pokoju. Otóż, na fotelu bliskim lśniącego i uświęconego stołu, p. de Charlus, nie tykający kart, nieczuły na to co się dzieje dokoła, niezdolny spostrzec mego wejścia, zdawał się czarnoksiężnikiem, całą potęgą woli i rozumu siłą się wyciągnąć horoskop. Oczy wychodziły mu z głowy niczem pytji na trójnogu; iżby zaś nic nie zamąciło jego pracy, wymagającej poniechania najprostszych ruchów, podobny rachmistrzowi wyrzekającemu się wszelkiej czynności póki nie rozwiąże swego zagadnienia, baron położył koło siebie cygaro, które dopiero co miał w ustach i na którego dokończenie nie miał już potrzebnej swobody umysłu. Widząc dwa bóstwa przycupnięte na poręczach fotelu stojącego nawprost pana de Charlus, można było przypuszczać, że ów stara się przeniknąć zagadkę sfinksa, gdyby nie chodziło raczej o zagadkę młodego i żywego Edypa, siedzącego właśnie na tym fotelu gdzie usadowił się do gry. Otóż, figura, na której p. de Charlus skupił z takim napięciem wszystkie swoje władze, nie była, prawdę mówiąc, z tych, które studjuje się zazwyczaj *more geometrico*; była to figura, którą tworzyły rysy twarzy młodego margrabiego de Surgis. Twarz ta tak bardzo pochłaniała

pana de Charlus, jakgdyby była jakąś krzyżówką, zagadką, jakimś algebraicznym problemem którego starałby się odgadnąć sekret lub znaleźć formułę. Sybilińskie znaki i figury, wypisane przed nim na tej tablicy Prawa, zdawały się tajemnym pismem, które miało pozwolić starymu czarnoksiężnikowi odczytać w jakim kierunku orjentują się losy młodego człowieka. Nagle baron spostrzegł, że ja na niego patrzę; podniósł głowę jakby zbudzony ze snu i uśmiechnął się do mnie rumieniąc się. W tej chwili, drugi syn pani de Surgis podszedł aby zajrzeć bratu w karty. Kiedy p. de Charlus dowiedział się odemnie, że to są bracia, twarz jego nie mogła utaić podziwu, jaki w nim budziła rodzina płodna w tak wspaniale i tak różne arcydzieła. Entuzjazm barona zwiększyłaby jeszcze wiadomość, że obaj synowie pani de Surgis-le-Duc są dziećmi nietylko jednej matki, ale i jednego ojca. Dzieci Jowisza nie podobne są do siebie, ale to pochodzi stąd, że ów zaślubił najpierw Metys, której przeznaczeniem było dać życie roztroprnym dzieciom, potem Temidę, a potem Eurynonję, i Mnemozynę, i Leto, a dopiero na ostatku Junonę. Natomiast pani de Surgis poczęła z jednego ojca dwóch synów, którzy otrzymali od niej urodę, ale każdy inną.

Doczekałem się w końcu przyjemności ujżenia Swanna, ale nie spostrzegł mnie zrazu, bo sala była bardzo wielka. Przyjemność zmieszana ze smutkiem, którego nie odczuwali może inni goście, ale który u nich zmienił się w rodzaj urzeczenia, jakie wywierają nieoczekiwane i osobliwe kształty bliskiej śmierci — śmierci, którą czyta się już, jak powiada lud, z twarzy. I z niegrzecznym prawie zdumieniem, w które wchodziła niedyskretna ciekawość, okrucieństwo, spokojna zarazem i stroskana zaduma (połączenie *suave mari magno i memento quia pulvis*, powiedziałby Robert), wszystkie spojrzenia wlepiły się w tę twarz, której choroba tak nadgryzła policzki — niby księżyc idący do nowiu — że wyjąwszy pod pewnym kątem (tym zapewne, pod jakim Swann patrzył na siebie), zwiły się one niby wiotka dekoracja, której jedynie złudzenie optyczne może dać pozór bryły. Czy to przez brak tych policzków, których nie stało już aby zmniejszać wymiary nosa, czy że arterioskleroza, która też jest zatruciem, zczzerwieniła go tak jak czyni pijaństwo lub zniekształciła tak jak czyni morfina, wydatny nos Swanna, wprzód szarmonizowany z miłą twarzą, teraz wydawał się olbrzymi, nabrzmiały, rubinowy — raczej nos starego hebrajczyka niż ciekawego Walezjusza. Zresztą, może w tych ostatnich dniach rasa bardziej wydobyła u Swanna charakterystyczny dla niej fizyczny typ, wraz z poczuciem żydowskiej solidarności duchowej, o której Swann jakby zapominał przez całe życie, a którą obudziły zaszczepione na sobie: śmiertelna choroba, sprawa Dreyfusa, rozpętanie antysemityzmu. Są izraelici subtelni zresztą i wykwintni światowcy w których siedzą w zaciszu kulisy, aby wkroczyć w danej godzinie życia niby w sztuce teatralnej: — cham i prorok. Swann doszedł wieku proroka. Zmienił się bardzo; pod wpływem choroby, całe partje jego twarzy znikły niby partje topniejącej bryły lodu. Ale mimowoli uderzyło mnie, o ile bardziej jeszcze zmienił się w moich oczach. Był to człowiek miły i kulturalny, którego zawsze widywałem z przyjemnością. Ale nie mogłem teraz zrozumieć, w jaki sposób mogłem go swego czasu stroić taką tajemnicą, że jego zjawienie się na Polach Elizejskich przyprawiło mnie o bicie serca, do tego stopnia żem się wstydził zbliżyć do jego peleryny na jedwabiu, że do drzwi mieszkania gdzie żył taki człowiek nie byłem w stanie zadzwonić bez uczucia nieskończonego zmieszania i lęku; wszystko to znikło, nie tylko z jego domu ale i z jego osoby, a myśl o rozmowie z nim mogła mi być miła lub nie, ale nie wzruszała mnie w najlżejszej mierze.

I co więcej, jak on się zmienił od tego popołudnia, kiedym go spotkał — w sumie przed kilku godzinami — w gabinecie księcia Błażeja! Czy naprawdę miał z księciem Gilbertem rozmowę, która go wstrząsnęła? To nie było konieczne. Dla człowieka, który jest bardzo chory, najmniejszy wysiłek staje się rychło przemęczeniem. Niech go bodaj trochę już zmęczonego — zmoże upał sali balowej, twarz jego rozkłada się i sinieje, jak się dzieje w niespełna dzień z dojrzałą gruszką, lub z mlekiem bliskim skwaśnienia. Co więcej, włosy Swanna przerzedziły się miejscami i, jak powiadała Oriana, potrzebowały kuśnierza; wyglądały jak wyjęte z niedostatecznie użytej kamfory.

Miałem przebyć palarnię i zbliżyć się do Swanna, kiedy na nieszczęście czyjaś ręka spoczęła na mojem ramieniu.



— Jak się masz, kochanie, jestem w Paryżu na czterdzieści osiem godzin. Zaszedłem do ciebie, powiedziano mi że jesteś tutaj, tak że tobie zawdzięcza ciotka zaszczyt mojej obecności.

Był to Saint-Loup. Wyraziłem mu zachwyt dla tej rezydencji.

— Tak, to dość wygląda na zabytek historyczny. Mnie się to wydaje mordercze. Nie siadajmy blisko wuja Palamedy, inaczej nas zagarnie. Ponieważ pani Molé (obecna faworyta!) właśnie wyszła, wujaszek jest całkiem wykończony. Zdaje się, że to istny teatr; nie opuścił jej na krok, rozstał się z nią dopiero wsadziwszy ją do powozu. Nie mam o to pretensji do wuja; poprostu wydaje mi się zabawne, że rada rodzinna, tak surowa dla mnie, składa się właśnie z krewnych, którzy najbardziej się puszczała, zaczawszy od największego hulaki ze wszystkich, wuja Charlus. Ten facet, który jest moim urzędowym opiekunem, miał w życiu tyle kobiet co sam don Juan, i w swoim wieku jeszcze nie wyprzęga! W pewnej chwili była mowa o tem, aby mnie wziąć pod kuratelę. Myślę że kiedy wszyscy ci starzy dziwkarze zbierali się aby badać kwestję i sprowadzali mnie poto aby mi prawić morały i mówić że sprawiam zgryzotę matce, nie mogli na siebie popatrzeć aby się nie śmiać. Powiem ci skład tej rady; wygląda jakby umyślnie dobrali tych, którzy najwięcej zagłądali pod spódniczki.

Wyłączając pana de Charlus, co do którego zdziwienie Roberta nie bardziej zdawało mi się usprawiedliwione (ale z innych przyczyn, które zresztą miały się przeobrazić później w moim umyśle), Saint-Loup niesłusznie uważał za coś nadzwyczajnego, że lekcje rozsądku dają młodemu człowiekowi krewni, którzy sami szaleli lub jeszcze szaleją.

Gdyby odgrywał tu rolę tylko atawizm, podobieństwa rodzinne, nieuchronne byłoby aby prawiący kazanie wujaszek miał mniej więcej te same wady co siostrzeniec otrzymujący połajankę. Niema w tem zresztą ze strony wuja żadnej obłud; ulega poprostu łatwości, z jaką ludzie w każdej nowej okoliczności wierzą, że to jest „co innego”; która-to właściwość pozwala im wierzyć w błędy artystyczne, polityczne etc., nie spostrzegając, że to są te same, które brali za prawdę przed dziesięć laty z powodu innej szkoły malarstwa którą potępiali, innej sprawy politycznej, rzeczy które budziły w nich niegdyś wstręt, a które teraz przyjęli, nie poznając ich pod nowym przebraniem. Zresztą jeżeli nawet błędy wuja różnią się od błędów siostrzeńca, nie mniej dziedziczność może tu być poniekąd zasadą ich przyczynowości, skutek bowiem nie zawsze jest podobny do przyczyny jak kopia do oryginału, i nawet jeżeli błędy wuja są gorsze, ów może doskonale uważać je za mniej ciężkie.

Kiedy p. de Charlus robił pełne oburzenia wyrzuty Robertowi (który zresztą nie znał prawdziwych upodobań wuja), w owej epoce, a nawet gdyby to była jeszcze epoka, w której baron potępiał własne gusty, mógłby doskonale być szczery, znajdując — z punktu widzenia światowca — że Robert nieskończenie winniejszy jest od niego. Czyż, w chwili gdy wujowi polecono przywołać go do rozumu, Robertowi nie groziło to że znajdzie się poza nawiasem swego świata; czyż wiele brakło, aby go zbalotowano w Jockey'u; czyż nie był pośmiewiskiem z powodu szalonych wydatków na kobietę ostatniego rządu, zażyłości z literatami, aktorami, żydami, osobnikami z których ani jeden nie należał do świata; przekonań, które nie różniły się od przekonań zdrajców; zgryzoty jaką sprawiał wszystkim swoim. Jak możnaby równać to skandaliczne życie z życiem pana de Charlus, który umiał dotąd nie tylko zachować ale uświetnić jeszcze swoją sytuacją rodową, będąc w towarzystwie osobą bezwzględnie uprzywilejowaną, poszukiwaną, wielbioną przez najwybrańszy świat; który, żonaty z księżniczką de Bourbon, kobietą niepospolitą, umiał ją uszczęśliwić, żywił dla jej pamięci najwyższy i najskrupulatniejszy kult, mało mający przykładów w świecie, i okazał się przez to równie dobrym mężem jak był dobrym synem!

— Ale czy ty jesteś pewny, że Charlus miał tyle kochanek? — spytałem, nie w diabolicznej intencji zdradzenia Robertowi podchwyczonego sekretu, ale bądźco bądź podrażniony tem, że on z taką pewnością i zarozumiałstwem broni fałszywego sądu. Wzruszył tylko ramionami na to, co uważał za naiwność z mojej strony. „Zresztą ja go nie potępiał (rzekł), uważam że ma zupełną słuszność”. I Robert zaczął szkicować teorię, która byłaby go przejęła zgrozą w Balbec (gdzie już nie hańba, ale śmierć zdawała mu się jedynie dostateczną karą na uwodzicieli). Bo wówczas był jeszcze zakochany i zazdrosny. Posunął się do tego, że mi zaczął zachwalać domy schadzek. „Tylko tam człowiek znajdzie trzewik na swoją nogę, to co my nazywamy w pułku *swój kaliber*.” Nie żywił już do tego

rodzaju miejsc owego wstępu, jaki objawiał w Balbec, kiedym wspomniał o czemś podobnym. Słyszając Roberta teraz, powiedziałem mu, że Bloch zapoznał mnie z zakładami tego rodzaju; ale Saint-Loup odrzekł, że zakład do którego uczęszczał Bloch, to musiała być „straszna bryndza, raj dla ubogich”. „To zależy, ostatecznie: gdzie to było?” Zbyłem go ogólnikami, bo przypomniałem sobie, że to tam oddawała się za ludwika owa Rachel, którą miał tak kochać. „W każdym razie zaprowadzę cię do znacznie lepszych, gdzie chodzą bajeczne kobiety. Kiedym go prosił, żeby mnie zaprowadził jaknajprędzej do znajomych sobie zakładów, które muszą być w istocie czemś o wiele wyższem od zakładu wskazanego przez Blocha, Robert wyraził szczery żal, że nie może tego uczynić obecnie, bo wyjeżdża jutro. „To będzie na następny raz, rzekł. Zobaczysz, są nawet młode panny — dodał z tajemniczą miną. Jest tam pewna panna de... zdaje mi się d’Orgeville, powiem ci dokładnie, córka ludzi bardzo, ale to bardzo przyzwoitych, matka jest mniej lub więcej z domu La Croix-l’Êvêque, sama śmietanka, podobno nawet trochę krewni ciotki Oriany. Zresztą wystarczy ujrzeć tę małą, zaraz się czuje że to jest panna z najlepszego domu (czułem przez chwilę rozpościerający się na głosie Roberta cień ducha Guermantów, który przeszedł niby chmura, ale bardzo wysoko i nie zatrzymał się). To mi robi wrażenie jakiejś cudownej przygody. Rodzice są zawsze chorzy i nie mogą się nią zajmować. Ba, mała pociesza się jak może, i liczę na ciebie że znajdziesz rozrywki temu dziecku!

— Och, kiedy wracasz?

— Nie wiem, ale jeżeli ci nie zależy absolutnie na diuszessach (tytuł *diuszessy* jest dla arystokracji jedynym, który oznacza rangę szczególnie świetną, tak jakby lud powiedział *pryncesa*), jest tam w innym rodzaju, pierwsza panna służąca pani Putbus.

W tej chwili pani de Surgis weszła do sali gry szukając synów. Widząc ją, p. de Charlus podszedł z uprzejmością którą margrabina była tem milej zdziwiona, ile że spodziewała się raczej lodowatego chłodu ze strony barona, który przybierał rolę protektora Oriany i jedyny w rodzinie — zbyt często pobłażliwej dla księcia Błażeja z powodu spadku po nim i przez zawiść wobec księżnej — bojkotował bez litości kochanki swego brata. Toteż pani de Surgis doskonale by zrozumiała pobudki zachowania się, jakiego się obawiała ze strony barona, ale nie podejrzewała zgoła pobudek wręcz odmiennego przyjęcia jakie ją spotkało. P. de Charlus wspomniał z zachwytem o jej portrecie, zrobionym niegdyś przez Jacqueta. Zachwyt ten wzbił się wręcz do entuzjazmu, który, o ile po części interesowny (chodziło o to aby nie dać margrabinie odejść, aby nawiązać kontakt — jak mówił Robert o armjach nieprzyjacielskich, których stan liczebny pragniemy unieruchomić w pewnym punkcie), był może również i szczery. Bo jeżeli każdy z przyjemnością podziwiał w synach królewską postawę i oczy pani de Surgis, baron mógł doświadczyć odwrotnej ale równie żywej przyjemności, odnajdując te wdzięki zespolone w ich matce, niby na portrecie, który sam nie rodzi żądz, ale karmi estetycznym podziwem te które budzi. One to właśnie dały retrospektywnie zmysłowy czar nawet portretowi Jacqueta; w tej chwili baron kupiłby chętnie ten portret, aby na nim studjować fizjologiczny rodowód młodych Surgis.

— Widzisz, że nie przesadzałem — rzekł Robert. — Popatrz tylko, jak on nadskakuje tej Surgis. I nawet powiem, że mnie to dziwi. Gdyby Oriana wiedziała, byłaby wściekła. Szczerze mówiąc, dosyć jest tutaj kobiet, aby się wujaszek nie musiał rzucać na tę — dodał Saint-Loup, który, jak wszyscy ludzie nie zakochani, wyobrażał sobie, że się wybiera przedmiot miłości, po tysiącu rozważań, wedle rozmaitych przymiotów i konwencji. Zresztą, myśląc się na punkcie wuja którego uważał za kobieciarza, Robert, pod wpływem swojej urazy, mówił o panu de Charlus zbyt lekko. Nie jest się bezkarnie czyimś siostrzeńcem. Bardzo często za pośrednictwem wuja udziela się, wcześniej lub później, dziedziczny nawyk. Możnaby tak sporządzić całą galerję portretów, pod godłem niemieckiej komedji „wuj i siostrzeniec”, gdzie ujrzałoby się wuja czuwającego bacznie, mimo iż bezwiednie, nad tem, aby siostrzeniec stał się w końcu do niego podobny.

Dodam nawet, że ta galerja byłaby niekompletna, gdyby się w nią nie wprowadziło wujów bez żadnego istotnego pokrewieństwa, ile że są jedynie wujami żony siostrzeńca. Panowie de Charlus są w istocie tak przeświadczeni, że oni jedni są dobrymi mężami, cowiej jedynymi o których kobieta nie jest zazdrosna, że zazwyczaj przez przywiązanie do siostrzenicy wydają ją również za jakiegoś Charlusa. I to wikła motek podobieństw.

A z uczuciem do siostrzenicy łączy się czasami uczucie do jej oblubieńca. Takie małżeństwa nie są rzadkie i należą często do tak zwanych szczęśliwych.

— O czym mówiliśmy? A, o tej słusznej blondynce, pokojówce pani Putbus. Ona lubi też kobiety, ale sądzę że to ci jest wszystko jedno: mogę powiedzieć szczerze, nie widziałem nigdy równie pięknego stworzenia.

— Wyobrażam ją sobie dosyć „Giorgione”?

— Szalenie Giorgione! Och, gdybym miał czas zostać w Paryżu, co za wspaniałe rzeczy byłyby do zrobienia! A potem, przechodzi się do innej. Bo miłość, widzisz, to jest skończona błaga, wyleczyłem się już z tego.

Spostrzegłem niebawem ze zdziwieniem, że Robert wyleczył się nie mniej z literatury, podczas gdy za naszym ostatnim spotkaniem zdawał mi się jedynie rozczarowany do literatów („to prawie wszystko kanalja i Spółka” — powiedział mi, co by się dało wytłumaczyć jego słuszną urazą do niektórych przyjaciół Racheli. Wytłumaczyli jej w istocie, że nigdy nie będzie miała talentu, jeżeli pozwoli Robertowi, „człowiekowi z innej rasy”, wywierać wpływ na nią, i kpili sobie zeń z Rachelą w jego obecności, na obiadach jakie dla nich wyprawiał). Ale w rzeczywistości zamiłowania literackie Roberta nie miały nic głębszego, nie wynikały z jego prawdziwej natury, były jedynie ubocznym produktem miłości do Racheli i zatarły się w nim równocześnie ze wstrętem do donżuanów i z religijną czcią dla cnoty kobiet.

— Jaki ci dwaj młodzi ludzie mają szczególny wyraz twarzy. Niech pani spojrzy na tę ciekawą pasję do gry, margrabino — rzekł p. de Charlus, pokazując pani de Surgis jej synów, tak jakby absolutnie nie wiedział kto oni są. — To muszą być jacyś synowie Wschodu, mają pewne charakterystyczne rysy, może to są Turcy — dodał równocześnie, aby potwierdzić jeszcze swoją udaną niewinność i aby dać dowód instynktownej antypatii, która, gdyby ustąpiła później uprzejmości, dowiodłaby, że ta uprzejmość dotyczy młodych ludzi jedynie jako synów pani de Surgis, ile że zaczęła się dopiero w chwili gdy się baron dowiedział kim są. Może też p. de Charlus, u którego impertynencja była darem wrodzonym i uprawianym z rozkoszą, skorzystał z minuty gdy rzekomo nie znał nazwiska młodych ludzi, aby się zabawić kosztem pani de Surgis i dać folgę swoim zwyczajnym drwinom, jak Scapin korzysta z przebrania swego pana, aby mu wrzepić porcję kijów.

— To moi synowie — rzekła pani de Surgis, z rumieńcem którego by sobie oszczędziła, gdyby nie będąc cnotliwszą, była sprytniejsza. Zrozumiałaby wówczas, że u pana de Charlus wyraz absolutnej obojętności lub szyderstwa w stosunku do jakiegoś młodego człowieka równie mało jest szczerzy, jak zdawkowy podziw okazywany kobiecie nie wyraża prawdziwej natury barona. Kobieta, którą obsypywał pochlebstwami i komplementami bez końca, mogłaby być zazdrosna o spojrzenie, jakie, rozmawiając z nią, słał w stronę mężczyzny, którego jak to udawał później — rzekomo nie zauważył. Bo owo spojrzenie było różne od tych, które p. de Charlus miał dla kobiet; spojrzenie specjalne, idące z głębi, nawet na zabawie nie zdolne się wstrzymać aby nie biec naiwnie ku młodym ludziom, niby spojrzenia krawca zdradzające jego rzemiosło sposobem w jaki natychmiast robią przegląd ubrania.

— Och, to ciekawe, odparł dość impertynencko p. de Charlus, z miną człowieka, którego myśl musiała przebyć długą drogę, zanim doszła do rzeczywistości zupełnie innej niż jego rzekome domysły. Ale ja ich nie znam — dodał, bojąc się iż zaszedł za daleko w wyrazie antypatii i że sparaliżował tem w margrabinie zamiar przedstawienia mu synów.

— Czy pan pozwoli łaskawie przedstawić ich sobie? — spytała nieśmiało pani de Surgis.

— Ależ, mój Boże, jak pani uważa; ja i owszem, ale nie jestem może figurą zbyt zabawną dla tak młodych ludzi — wyśpiewał p. de Charlus z wahającą się i chłodną miną człowieka który się zmusza do grzeczności.

— Arnulfie, Wikturnianie, chodźcie prędko — rzekła pani de Surgis. Wikturnian wstał żywo, Arnulf, wzorując się na bracie, udał się posłusznie za nim.

— Teraz kolej na synów! — rzekł do mnie Robert. — To można umrzeć ze śmiechu. Przymilałby się nawet pieskowi domowemu. To jest tem komiczniejsze, że Palamed nienawidzi żygolaków. I popatrz, jak on ich poważnie słucha. Gdybym to ja chciał mu ich przedstawić, ależ posłałby mnie na zbity łeb! Słuchaj, trzeba mi będzie przywitać się

z Orianą. Na tak krótko jestem w Paryżu, że chciałbym tutaj zobaczyć się ze wszystkimi, którym inaczej musiałbym rzucać bilety.

— Jacy oni są dobrze wychowani, jakie mają ładne wzięcie — mówił równocześnie p. de Charlus.

— Uważa pan? — odpowiedziała pani de Surgis uszczęśliwiona.

Swann, spostrzegłszy mnie z Robertem, zbliżył się do nas. Żydowska wesołość była u Swanna mniej subtelna niż jego żarty światowca.

— Dobry wieczór — rzekł. — Mój Boże, stoimy tak we trzech, świat będzie myślał, że to zebranie syndykatu. Mało braknie, a zaczną się dowiadywać, gdzie jest kasa!

Swann nie spostrzegł, że p. de Beaucerfeuil stoi za nim i słyszy. Mimowoli generał zmarszczył brwi. Usłyszeliśmy głos pana de Charlus tuż koło nas:

— Jakto, pan się nazywa Wikturnian, jak w *Gabinecie starożytności* — mówił baron, pragnąc przedłużyć rozmowę z młodymi ludźmi.

— Balzaka, tak — odparł starszy de Surgis, który nigdy nie czytał ani litery tego powieściopisarza, ale któremu nauczyciel zwrócił przed kilku dniami uwagę na zgodność jego imienia z imieniem młodego d'Esgrignon. Pani de Surgis była zachwycona, widząc że syn tak się popisał, a p. de Charlus oczarowany był tym ogromem wiedzy.

— Zdaje się, że Loubet jest całkowicie z nami, wiem z najlepszego źródła — rzekł Swann do Roberta, ale tym razem ciszej, aby generał nie słyszał. Stosunki republikańskie żony stały się dla Swanna bardziej interesujące, od czasu jak sprawa Dreyfusa stanowiła centrum jego zainteresowań. — Mówię to panu, bo wiem, że pan idzie z nami ręką w rękę.

— Ależ wcale nie tak bardzo, myli się pan całkowicie — odparł Robert. — To jest sprawa źle zaczęta, i bardzo żałuję, że w nią wpakowałem. Nie miałem tam nic do roboty. Gdyby to można było odrobić, trzymałbym się całkiem z boku. Ja jestem żołnierz, i przede wszystkim jestem za armją. — Jeżeli zostajesz chwilę z panem Swann, pójdę odszukać ciotkę, rzekł Robert do mnie. Ale ujrzałem, że poszedł rozmawiać z panną d'Ambresac; przykro mi się zrobiło na myśl, że Robert skłamał mi co do swoich możliwości zaręczyn. Rozpogodziłem się kiedyś się dowiedział, że dopiero przed pół godziną przedstawiła go pannie pani de Marsantes, która pragnęła tego małżeństwa, bo państwo d'Ambresac byli bardzo bogaci.

— Słowem — rzekł baron do pani de Surgis — widzę oto młodego człowieka wykształconego, który czytał, który wie co to jest Balzac. I tem większą przyjemność sprawia mi, że spotykam te zalety tam gdzie się one stały najrzadsze, u kogoś z mojej sfery, u jednego z naszych — dodał, kładąc nacisk na te słowa. Daremnie Guermantowie udają, że uważają wszystkich ludzi za równych: w wielkich okazjach, znalazłszy się wobec ludzi „urodzonych”, a zwłaszcza mniej dobrze „urodzonych”, którym pragnęli i mogli pochlebić, nie wahał się wyciągnąć starych wspomnień rodzinnych. Niegdyś — ciągnął baron arystokracja to znaczyło *najlepsi*, inteligencją, sercem. I oto pierwszy z naszej sfery, który wie, co to Wikturnian d'Esgrignon! Niesłusznie mówię pierwszy. Jest jeszcze Polignac, i jest Montesquiou, dodał p. de Charlus, wiedząc że to podwójne zestawienie do reszty upoi margrabinę. Zresztą, synowie pani mają się w kogo wdać, ich dziadek po kądzieli miał sławną kolekcję osiemnastowieczną. Pokażę panu moją, jeżeli mi pan zrobi tę przyjemność, aby zejść do mnie którego dnia na śniadanie; rzekł do młodego Wikturniana. Pokażę panu ciekawe wydanie *Gabinetu starożytności*, z poprawkami ręką Balzaka. Miło mi będzie skonfrontować dwóch Wikturnianów.

Nie mogłem się zdecydować na rozstanie ze Swannem. Doszedł do tego stopnia znużenia, gdy ciało chorego jest już tylko próbówką, w której śledzi się reakcje chemiczne. Twarz jego znaczyła się sinemi punkcikami, robiącymi wrażenie czegoś już niemal trupiego, i wydziela ów swoisty zapach, jaki w liceum czyni tak przykrym pobyt w gabinecie fizycznym po „godzinie doświadczeń”. Spytałem, czy nie miał dłuższej rozmowy z księciem Gilbertem i czy nie zechciałby mi jej opowiedzieć.

— Owszem — odparł — ale niech pan idzie na chwilę z panem de Charlus i z panią de Surgis, zaczekam tutaj.

W istocie, p. de Charlus, zaproponowawszy pani de Surgis, aby opuścić ten przegrany pokój i usiąść na chwilę w drugim, nie synów zaprosił aby towarzyszyli matce, ale mnie. W ten sposób, zwabiwszy ich, stwarzał pozór, że nie zależy mu na tych młodych

ludziach. Co więcej, wyświadczał mi łaskę dość tanią, ile że pani de Surgis-le-Duc była lichy notowana.

Na nieszczęście, ledwie siedliśmy we framudze bez drzwi, zjawiła się pani de Saint-Euverte, przedmiot żarcików barona. Chcąc zamaskować niechęć, jaką budziła w panu de Charlus, lub może chcąc jawnie stawić jej czoło, a zwłaszcza okazać że jest blisko z damą, która rozmawia tak poufale z baronem, pani de Saint-Euverte rzuciła niedbale i przyjacielskie przywitanie słynnej piękności, która odpowiedziała jej, zerkając z drwiącym uśmiechem na pana de Carlus. Ale oścież była tak wąska, że kiedy pani de Saint-Euverte chciała za nami dalej zbierać jutrzejszych gości, uwięzła tam i nie mogła się wydobyć; cenna chwila, z której skwapliwie skorzystał p. de Charlus, pragnąc błysnąć impertynenką werwą w oczach matki dwóch efebów. Głupie pytanie, zadane przezemnie bez złej intencji, dostarczyło baronowi okazji do tryumfального kupletu, z którego unieruchomiona za nami biedna Saint-Euverte nie mogła stracić ani słowa.

— Czy pani uwierzy, że ten postrzelony młody człowiek — rzekł, wskazując na mnie, baron do pani de Surgis — spytał mnie (bez najmniejszej troski oto, że tego rodzaju potrzeby należy ukrywać), czy ja idę do pani de Saint-Euverte, co znaczy, jak sądzę, czy mnie brzuch boli. Staralbym się, w każdym razie, ulżyć sobie w miejscu bardziej komfortowym, niż u osoby, która, o ile mnie pamięć nie myli, święciła stulecie swoich urodzin wówczas gdy ja zaczynałem bywać w świecie, to znaczy nie u niej. A jednak kogoż bardziej warto byłoby posłuchać! Ileż wspomnień historycznych, oglądanych i przeżytych za pierwszego cesarstwa i za Restauracji; ileż sekretnych awanturek (do których robi aluzję to nazwisko; *eu* znaczy po grecku: „dobrze”, *verte* znaczy po łacinie: „obrót”). Dobrze też wyobrać naszą czcigodną babinę, do syta! Ale coby mi bronilo interwiewowania jej w przedmioocie owych namiętnych epok, to wrażliwość mego zmysłu powonienia. Bliskość tej damy wystarcza mi. Powiadam sobie nagle: „Och, Boże, rura w wychodku pękła”; otóż nie, to poprostu margrabina otworzyła usta, aby kogoś zaprosić na swój wieczór. I pojmuje pani, że gdybym miał nieszczęście iść do niej, kloaka zmieniałaby się w olbrzymią beczkę nieczystości. Nosi nazwisko mistyczne, które przypomina, że jeżeli wszystko po śmierci obraca się w proch, to i owo jeszcze za życia obraca się w łajno. Powiadają mi, że ta niestrudzona puszczalska puszcza się na *garden party*; ja bym to nazwał „zaproszeniem do przechadzki po kanałach”. — Czy pani również ma tam zamiar się zasmrodzić, spytał baron pani de Surgis, wyraźnie zakłopotanej. Bo chcąc udać przed baronem że tam nie idzie, a wiedząc że raczej oddałaby pół życia niżby się wyrzekła *garden-party* margrabiny, w kłopotcie tym obrała drogę pośrednią, to znaczy niepewność. Ta niepewność przybrała formę tak głupio i tak płasko eklektyczną, że p. de Charlus, ryzykując obrazę pani de Surgis, dla której wszakże chciał być miły, zaczął się śmiać aby jej dowieść że to „nie chwyta”.

— Podziwiam zawsze ludzi, którzy robią projekty — rzekła pani de Surgis; ja często wymawiam się w ostatnim momencie. Kwestja letniej sukni może zmienić wszystko. Zrobię wedle natchnienia chwili.

Co do mnie, byłem oburzony ohydą napaścią pana de Charlus. Byłbym rad osłodzić to organizatorce *garden-party*. Na nieszczęście, w „towarzystwie”, jak w świecie politycznym, ofiary są tak nikczemne, że nie można się długo oburzać na ich katów. Pani de Saint-Euverte, zdoławszy się wydobyć z framugi do której zatarasowaliśmy przystęp, przechodząc otarła się mimowoli o barona i przez odruch snobizmu neutralizujący w niej wszelki gniew, może nawet w nadziei nawiązania rozmowy w sposób który nie musiał być pierwszą próbą: „Och! przepraszam pana, panie de Charlus, mam nadzieję, że pana nie potrąciłam”; — wykrzyknęła tak, jakby klękała przed swoim panem. Baron nie raczył odpowiedzieć inaczej niż szerokim ironicznym śmiechem; bąknął jedynie „dobry wieczór”, tak jakby spostrzegł obecność margrabiny dopiero w chwili gdy mu się ukloniła pierwsza, co było jedną zniewagą więcej. Wreszcie z beżmiarem upodlenia, które mnie bolało za nią, pani de Saint-Euverte podeszła bliżej i wzięwszy mnie na bok, szepnęła: „Ależ co ja takiego zrobiłam panu de Charlus? Twierdzą, że nie jestem dość elegancka dla niego”, rzekła śmiejąc się na całe gardło. Nie uśmiechnąłem się. Z jednej strony wydało mi się idjotyczne iż ona udaje że wierzy lub też chce wmówić że nikt nie jest równie „szykowny” jak ona. Z drugiej strony, ludzie śmiejący się tak głośno z tego co mówią a co nie jest zabawne, uwalniają nas, biorąc wszystkie koszty wesołości na siebie, od brania w niej udziału.

— Inni upewniają mnie — ciągnęła pani de Saint-Euverte — że baron jest urażony o to że go nie zapraszam. Ale on mnie też zbyt nie zachęca! Robi wrażenie, że się dąsa na mnie (wyrażenie wydało mi się słabe). Niech się pan postara zbadać to i przyjdzie mi powiedzieć jutro. A jeżeli baron będzie miał wyrzuty sumienia i zechce panu towarzyszyć, niech go pan przyprowadzi. Wszelki grzesznik ma prawo do odpuszczenia. Tęby mi nawet sprawiło pewną przyjemność, z powodu pani de Surgis, która byłaby zła o to. Daję panu *carte blanche*. Pan ma doskonale wyczucie takich rzeczy, a ja nie chcę robić wrażenia, że łowię gości. W każdym razie na pana liczę z pewnością.

Pomyślałem, że czekanie na mnie może zmęczyć Swanna. Nie chciałem zresztą wracać za późno z powodu Albertyny; zaczęłam, pożegnawszy panią de Surgis i barona, wróciłem do Swanna do sali gry. Spytałem go, czy w sprawie, o której rozmawiał z księciem w ogrodzie, chodziło w istocie o to co p. de Bréauté (którego nie wymieniłem) nam powtórzył, a co się tyczyło jednoaktówki Bergotte'a. Parsknął śmiechem:

— Nie ma w tem ani słowa prawdy, ani jednego słowa; to całkowicie z palca wyssane i byłoby zupełnie głupie. Doprawdy, to jest niesłychana rzecz, to samoródtwo bajek. Nie pytam, kto to panu powiedział, ale byłoby doprawdy ciekawe, w ramie tak ograniczonej, przejść jedno ogniwo po drugim, aby dojść w jaki sposób to powstało. Zresztą, czy to może kogo interesować, co mi powiedział książę Gilbert? Ludzie są bardzo ciekawi. Ja nie byłem nigdy ciekawy, wyjąwszy kiedy byłem zakochany i zazdrosny. I dużom się dowiedział! Czy pan jest zazdrosny?

Powiedziałem, że nigdy nie doznawałem uczucia zazdrości, nie wiem nawet co to jest.

— Haha! w takim razie, wiesz panu. Kiedy się jest trochę zazdrosnym, to nie jest zbyt niemiłe, z dwójki punktu widzenia. Z jednej strony dlatego, że to pozwala ludziom nie ciekawym z natury interesować się życiem innych osób lub bodaj jednej osoby. A powtóre dlatego, że to dosyć dobrze daje czuć słodycz posiadania, wsiadania z kobietą do powozu, nie zostawiania jej samej. Ale to tylko w samych początkach choroby, lub wówczas kiedy się jest prawie wyleczonym. W innej sytuacji, to jest najokropniejsza z cierpień. Zresztą, muszę się panu przyznać, że nawet owe dwie słodycze, o których wspominałem, mało mi są znane; pierwsza z winy mojej natury, nie zdolnej do przydługich refleksyj; druga z powodu okoliczności, z winy kobiety, — to jest chciałem rzec kobiet, o które byłem zazdrosny. Ale to nic nie znaczy. Nawet kiedy człowiekowi nie zależy na tych rzeczach, nie jest całkiem obojętne, że mu kiedyś na nich zależało; bo to było zawsze z przyczyn, które umykały się innym. Czujemy, że wspomnienie takich uczuć istnieje tylko w nas; trzeba wejść w samego siebie, aby je oglądać. Nie drwij pan sobie nadto z tej idealistycznej gwary; chcę poprostu powiedzieć, że ja bardzo kochałem życie i bardzo kochałem sztukę. I cóż, teraz, kiedy jestem nadto zmęczony na to aby żyć z drugimi, te moje dawne uczucia, tak osobiście *moje*, wydają mi się — ot, manja wszystkich kolekcjonerów! — bardzo cenne. Otwieram dla samego siebie własne serce niby witrynę; oglądam kolejno tyle miłości, których inni nie mogli znać. I o tej kolekcji, do której jestem teraz bardziej jeszcze przywiązany niż do innych, powiadam sobie — trochę jak Mazarin o swoich książkach, ale zresztą bez żadnego lęku — że bardzo głupio będzie opuścić to wszystko. Ale wróćmy do rozmowy z księciem Gilbertem; opowiem ją tylko jednej osobie, właśnie panu.

W słuchaniu Swanna przeszkadzał mi djałóg, który tuż obok nas p. de Charlus, wróciwszy do sali gry, przeciągał bez końca. „I pan także czyta? Co pan wogóle robi?” — pytał hrabiego Arnulfa, który nie znał nawet nazwiska Balzaka. Ale krótki wzrok tego młodzieńca, sprawiając iż widział wszystko bardzo pomniejszone, dawał mu wejrzenie człowieka widzącego bardzo daleko, tak iż — rzadka poezja w posągowym bogu greckim — w źrenicach jego odbijały się jakby odległe i tajemnicze gwiazdy.

— Gdybyśmy się przeszli trochę po ogrodzie, rzekłem do Swanna, podczas gdy hrabia Arnulf spieszczonym głosem, zdającym się wskazywać że jego rozwój (przynajmniej umysłowy) nie jest kompletny, odpowiadał panu de Charlus z uprzejmą i naiwną ścisłością:

— Och, ja, to raczej golf, tenis, piłka nożna, zawody piesze, zwłaszcza polo.

Rzekłbyś Minerwa, która, rozszczępiwszy się, przestała w pewnym mieście być boginią mądrości i wcieliła część samej siebie w czysto sportowe, hippiczne bóstwo *Atene Hippia*.

Arnulf jeździł też do Saint-Moritz na narty, bo Pallas Trilogeneia wspina się na wysokie szczyty i dopędza jeźdźców.

— A! — odpowiedział p. de Charlus z pobłażliwym uśmiechem intelektualisty, który nie zadaje sobie nawet trudu ukrywać że kpi, ale który zresztą czuje się tak bardzo wyższy od innych i tak gardzi inteligencją ludzi najmniej głupich, że zaledwie ich odróżnia od najgłupszych, z chwilą gdy mu przypadli do smaku na inny sposób. Rozmawiając z Arnulfem, p. de Charlus uważał, że mu nadaje przez to samo godność, którą cały świat powinien uznawać i zazdrościć mu jej.

— Nie — odrzekł Swann; nadto jestem zmęczony aby chodzić, usiądźmy raczej gdzieś w kącie, nie trzymam się już na nogach.

Była to prawda, a jednak już to że zaczął rozmawiać wróciło mu trochę żywotności. Bo w najbardziej realnym zmęczeniu jest, zwłaszcza u ludzi nerwowych, cząstka, która zależy od uwagi i która się przechowuje jedynie drogą pamięci. Człowiek czuje się nagle zmęczony, kiedy się obawia że nim będzie; aby się pozbyć zmęczenia, wystarczy zapomnieć o niem. Z pewnością Swann nie należał do tych niewyczerpanych cherlaków, którzy, przybyszy zmordowani, bez duszy, ledwie się trzymając na nogach, odżywają pod wpływem rozmowy niby kwiat w wodzie i mogą godziny całe czerpać z własnych słów siły, których nie przelewają na nieszczęście w słuchaczy, coraz to bardziej przybitych, w miarę jak mówca czuje się rozbudzony. Ale Swann należał do tej silnej rasy żydowskiej, w której żywotność i odporność wobec śmierci cechuje nawet jednostki. Każdy z nich, naznaczony jakąś chorobą, jak sama rasa naznaczona jest prześladowaniem, szamoce się bez końca w straszliwych agonjach, mogących się przeciągnąć poza granice prawdopodobieństwa, kiedy widać już tylko brodę proroka ze sterczącym olbrzymim nosem, rozszerzającym się aby wciągać ostatnie tchnienia, przed godziną rytualnych modlitw, kiedy to punktualnie rozpoczyna się defilada dalekich krewnych, posuwających się z mechanicznymi gestami, niby na fryzie asyryjskim.

Poszliśmy usiąść, ale zanieśmy się oddalili od grupy, jaką p. de Charlus tworzył z dwoma młodymi Surgis i ich matką, Swann nie mógł się powstrzymać aby nie wlepić w gors pani de Surgis oczu znawcy, szeroko rozwartych i pożądliwych. Włożył monokl, aby lepiej widzieć, i rozmawiając ze mną, raz po raz słał spojrzenie w stronę tej damy.

— Oto słowo w słowo — rzekł kiedyśmy usiedli — moja rozmowa z księciem Gilbertem; a jeżeli pan sobie przypomina co mówiłem świeżo, zobaczy pan, czemu pana biorę za powiernika. A przytem jest jeszcze inna racja, o której się pan dowie kiedyś. „Mój drogi Swann — powiedział książę Gilbert; darujesz mi, jeżeli się wydawało, że cię unikam od jakiegoś czasu. (Wcale tego nie zauważyłem, będąc chory i sam unikając świata). Po pierwsze, słyszałem i przewidywałem, że w nieszczęśliwej sprawie, dzielącej nasz kraj, ty masz przekonania całkiem sprzeczne z moimi. Otóż, byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdybyś je wyrażał w mojej obecności. Moja nerwowość na tym punkcie była taka, że kiedy przed dwoma laty żona moja usłyszała w ustach swego szwagra, wielkiego księcia heskiego, że Dreyfus jest niewinny, nietylko odparła te słowa bardzo żywo, ale nie powtórzyła mi ich, aby mnie nie drażnić. Prawie w tej samej epoce, szwedzki następca tronu przybył do Paryża i usłyszawszy prawdopodobnie że cesarzowa Eugenia jest dreyfusistką, pomylił ją z księżną Marją (dziwne pomieszanie, przyznasz Swann, kobiety na stanowisku mojej żony z hiszpanką o wiele gorzej urodzoną niż się powiada i zamężną za zwykłym Bonapartem) i powiedział jej: »Księżno, jestem podwójnie szczęśliwy, że panią widzę; wiem, że pani ma te same poglądy co ja na sprawę Dreyfusa, co mnie nie dziwi, skoro Wasza Wysokość jest Bawarką«. Co zyskało księciu następcy tę odpowiedź: »Wasza Wysokość, jestem już tylko księżną francuską i myślę tak jak wszyscy moi rodacy«. Otóż, mój drogi Swann, będzie temu półtora roku, rozmowa z generałem de Beaucerfeuil obudziła we mnie podejrzenie, że w toku procesu popełniono nie omyłkę, ale poważne nieprawidłowości”...

Przerwał nam (Swann nie chciał, aby ktoś słyszał jego opowiadanie) głos pana de Charlus, który (nie troszcząc się zresztą o nas) odprowadzał panią de Surgis i przystanął, próbując ją zatrzymać jeszcze, czy to z powodu synów, czy z powodu owej właściwej Guermantom obawy przed skończeniem się chwili obecnej — obawy pogrążającej ich w jakimś trwożliwym bezwładzie. Nieco później Swann powiedział mi w tym przedmiocie coś, co nazwisku Surgis-le-Duc odjęło w moich oczach wszelką poezję, jaką w niem

znajdowałem. Margrabina<sup>946</sup> de Surgis-le-Duc miała o wiele większą sytuację w świecie i o wiele piękniejsze parantele, niż jej kuzyn, hrabia de Surgis, który, będąc ubogi, żył na wsi. Ale słówko kończące tytuł, owo „le Duc”, nie miało bynajmniej początków, które mu przypisywałem i które kazały mi je zbliżać w wyobraźni z takim Bourg-l'Abbé, Bois-le-Roi, etc. Całkiem prosto, któryś hrabia de Surgis ożenił się za Restauracji z córką bardzo bogatego przemysłowca, pana Leduc, albo Le Duc, syna znowuż fabrykanta produktów chemicznych, najbogatszego człowieka swojej epoki, para Francji. Dla syna zrodzonego z tego małżeństwa Karol X utworzył markiziat Surgis-le-Duc, ile że markiziat de Surgis istniał już w rodzinie. Przyrostek mieszczańskiego nazwiska nie przeszkodził tej gałęzi skoligacić się, dzięki olbrzymiemu majątkowi, z pierwszemi rodzinami Francji. Obecna margrabina de Surgis-le-Duc, sama z wielkiego domu, mogłaby mieć pozycję pierwszorzędną. Demon perwersji pchnął ją do tego, aby, gardząc osiągniętą już sytuacją, uciec od męża i żyć najskandaliczniej. Świata, którym pogardziła mając dwadzieścia lat, wówczas gdy był u jej stóp, zaczęło jej okrutnie brakować w trzydziestym roku, kiedy od dziesięciu lat nikt, z wyjątkiem nielicznych wiernych przyjaciółek, nie kłaniał się jej; wówczas postanowiła pracowicie odzyskać, punkt po punkcie, to co posiadała od urodzenia. Tego rodzaju peregrynacje nie są rzadkie.

Co się tyczy wielkich panów, jej krewnych, wzgardzonych niegdyś przez nią i z kolei jej okazujących wzgardę, radość jaką byłoby dla niej ściągnąć ich do siebie, składała margrabina na wspomnienia dzieciństwa. I mówiąc to dla pokrycia swego snobizmu, mniej może kłamała niż sądziła sama. „Błażej, to cała moja młodość!” powiadała w dniu kiedy książę powrócił do niej. I w istocie, to była trochę prawda. Ale źle obliczyła, obierając go na kochanka. Bo wszystkie przyjaciółki księżnej Oriany ujęły się za prawowitą żoną i w ten sposób pani de Surgis miała się po raz drugi osunąć ze skarpy, na którą z takim trudem przyszło się jej wdrapać.

— Więc tak! — mówił do niej p. de Charlus, który starał się przedłużyć rozmowę. Złoży pani mój hołd u stóp pięknego portretu. Jakże się miewa, co się z nim dzieje?

— Ależ — rzekła pani de Surgis — niech sobie pan wyobrazi, że go już nie mam; mężowi się nie podobał.

— Nie podobał! Jedno z arcydzieł naszej epoki, równe księżnej de Châteauroux Nattiera, zresztą kuszące się o utrwalenie nie mniej majestatycznej i zabójczej piękności. Och, ten błękitny kołnierzyk! Można powiedzieć, że nigdy Ver Meer nie namalował materji bardziej po mistrzowsku. Nie mówmy tego zbyt głośno, aby Swann nie napadł na nas, chcąc pomścić swego ulubionego malarza, mistrza z Delft.

Margrabina obróciła się z uśmiechem i podała rękę Swannowi, który uniósł się nieco, aby się jej uklonić. Ale prawie bez udania — jakgdyby podeszły wiek odjął mu bądź wolę moralną, przez obojętność na opinię, bądź władzę fizyczną, przez nasilenie żądz i osłabienie sprężyn zdolnych ją ukryć — z chwilą gdy Swann, ściskając rękę margrabiny, ujrzał zbliżającą się i z wysoka jej gors, zapuścił baczne, poważne, pochłonięte, niemal zatroskane spojrzenie w głąbiny biustu, a nozdrza jego, upojone zapachem kobiety, zatrzepotały niby motyl gotowy usiąść na dojrzałym kwiecie. Opanował nagle zawrót jaki go ogarnął, a sama pani de Surgis, mimo że zażenowana, zdławiła głęboki oddech, tak żądza bywa czasami zaraźliwa. „Malarz obraził się — rzekła do pana de Charlus — i odebrał portret. Mówiono mi, że jest teraz u Diany de Saint-Euverte. — Nie uwierzę nigdy — odparł baron — aby arcydzieło miało tak zły gust”.

— Mówi o jej portrecie. I ja pogwarzyłbym z nią niegorzej od Charlusa o tym portrecie — rzekł do mnie Swann, naśladowując rozwlekły akcent uliczników i ścigając oczami oddalającą się parę. — I to by mi sprawiło z pewnością więcej przyjemności niż Charlusowi — dodał.

Spytałem, czy to, co mówią o panu de Charlus, jest prawda, w czym kłamałem dubeltowo, bo o ile nie wiedziałem aby kiedy co mówiono, wzamian za to doskonale wiedziałem od niedawna, że to o czem myślę jest prawdą. Swann wzruszył ramionami, tak jakbym powiedział niedorzeczność:

<sup>946</sup>*margrabina Surgis-le-Duc* — kilkanaście stron przedstawił nam ją Proust jako księżnę de Surgis-le-Duc. [przypis redakcyjny]



— To znaczy — rzekł — że on jest czarujący przyjaciel. Ale czy potrzebuję dodawać, że to jest czysto platoniczne? Jest bardziej sentymentalny od innych, oto wszystko; z drugiej strony, ponieważ nie posuwa się nigdy zbyt daleko z kobietami, dało to pewne pozory prawdy niedorzecznym pogłoskom, o których pan wspomina. Charlus kocha może bardzo swoich przyjaciół, ale niech pan będzie pewny, że to się nigdy nie działo gdziekolwiek indziej niż w głowie i w sercu. No, teraz może będziemy mieli parę chwil spokoju. Zatem, książę Gilbert ciągnął dalej: „Przyznam ci się, że ta myśl o możebnej nielegalności w procedurze procesu była mi nadzwyczaj przykra, z powodu kultu jaki — wiesz o tem — mam dla armji; ponowiłem rozmowę z generałem i nie miałem już niestety żadnej wątpliwości w tym względzie. Powiem ci szczerze, Swann, że myśl, aby niewinny mógł cierpieć najhaniańszką karę, nie powstała mi nawet w głowie. Ale, poprzez tę myśl o nielegalności, zacząłem studjować to, czego wprzód nie chciałem czytać, i oto wątpliwości — tym razem już nie co do form procedury ale co do samej winy — zaczęły mnie nawiedzać. Nie uważałem za potrzebne wspominać o tem żonie. Bóg wie, że stała się równie dobrą Francuzką jak ja. Mimo wszystko, w dniu gdym ją zaślubił, włożyłem tyle kokieteryj w to aby jej pokazać całą piękność naszej Francji i co było dla mnie najpiękniejsze, jej armję, że było mi zbyt okrutne dzielić się z nią podejrzeniami, które dotykały, co prawda, jedynie kilku oficerów. Ale ja jestem z rodziny wojskowych, nie chciałem wierzyć, aby oficerowie mogli się mylić. Jeszcze raz pomówiłem z Beaucerfeulem; przyznał mi, że dokonano występnych machinacyj, że *bordereau* może nie jest ręki Dreyfusa, ale że jaskrawy dowód jego winy istnieje. To był dokument pułkownika Henry. I w kilka dni później wyszło na jaw, że to jest fałszerstwo! Wówczas, w sekrecie przed księżną, zacząłem czytywać codziennie »*Siecle*«, »*Aurore*«; niebawem nie miałem już żadnej wątpliwości, nie mogłem sypiać. Zwierzyłem się ze swoich cierpień moralnych naszemu przyjacielowi, księdzu Poiré, u którego, ku memu zdumieniu, spotkałem się z tem samym przekonaniem i kazałem mu odprawić mszę na intencję Dreyfusa, jego nieszczęśliwej żony i dzieci. Wśród tego wszystkiego, pewnego rana, udając się do księżnej, ujrzałem, że pokojówka jej kryje coś co trzyma w ręku. Spytałem, śmiejąc się, co to takiego; zaczerwieniła się i nie chciała powiedzieć. Miałem największe zaufanie do żony, ale to wydarzenie wstrząsnęło mnie bardzo, a z pewnością i księżnę, której pokojówka musiała je opowiedzieć, bo moja droga Marja ledwie się do mnie odezwała przy śniadaniu. Spytałem tego dnia księdza Poiré, czy mógłby odprawić nazajutrz moją mszę za Dreyfusa...

— Oho! — wykrzyknął Swann półgłosem, urywając.

Podniosłem głowę i ujrzałem księcia Błażeja, który szedł ku nam.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam, moje dzieci. Kochany panie — rzekł zwracając się do mnie — jestem wydelegowany do pana przez Orianę. Gilbertostwo prosili nas, abyśmy zostali u nich na kolacji w jakieś pięć czy sześć osób: tylko księżna heska, pani de Ligné, pani de Tarante, pani de Chevreuse, księżna d’Arenberg. Na nieszczęście, nie możemy zostać, bo idziemy na taką sobie małą redutę.

Słuchałem księcia, ale ilekroć mamy coś do zrobienia w oznaczonym momencie, sami polecamy pewnej osobistości, przyzwyczajonej do tego rodzaju usług, aby pilnowała godziny i uprzedziła nas w porę. Ten niejako wewnętrzny kamerdyner przypomniał mi — jak go o to przed kilku godzinami prosiłem — że Albertyna, w tej chwili bardzo daleka moim myślom, ma przyjść do mnie zaraz po teatrze. To też odmówiłem pozostania na kolacji. Nie znaczy to, abym się nie czuł dobrze u księżnej. Tak więc ludzie mogą mieć kilka rodzajów przyjemności. Prawdziwa jest ta, dla której opuszczają inną. Ale ta znowuż, jeżeli jest jawna, lub nawet jedynie jawna, może zmylić co do pierwszej, uspakaja lub wiedzie na fałszywy trop zazdrosnych, myli sąd świata. A przecież, na to abyśmy poświęcili tę przyjemność dla tamtej, wystarczyłoby trochy szczęścia lub trochy cierpienia. Czasami trzecia kategoria przyjemności poważniejszych, ale bardziej istotnych, nie istnieje dla nas jeszcze; możliwość ich wyraża się w nas jedynie jakimś żalem, zniechęceniem. A jednak tym właśnie przyjemnościom oddamy się później. Aby dać tego przykład, zupełnie mimochodem: wojskowy w czasie pokoju wyrzecz się życia światowego dla miłości, ale z chwilą wypowiedzenia wojny (i nie potrzeba tu nawet wprowadzać pojęcia patriotyzmu, obowiązku) poświęci miłość dla silniejszej niż miłość namiętności bicia się.

Próżno Swann powiadał mi, że rad jest iż może mi opowiedzieć swoją historię; czułem, że nasza rozmowa, z powodu późnej pory i dolegliwej choroby Swanna, jest dlań

jednym z owych wysiłków, których ci, co wiedzą że zabijają się niespaniem lub ekscesami, rozpaczliwie żałują za powrotem do domu; tak jak rozrzutnicy żałują swoich szalonych wydatków, co im nie przeszkodzi jutro wyrzucać znów pieniądze za okno. Począwszy od pewnego stopnia osłabienia — czy spowodowanego wiekiem czy chorobą — wszelka przyjemność zażywana kosztem snu, łamiąca przyzwyczajenia, wszelki wybryk, stają się przykrością. Świetny causeur mówi dalej przez grzeczność, przez podniecenie, ale wie, że godzina, o której mógłby jeszcze usnąć, minęła, i wie także, jakimi wyrzutami będzie się obsypywał pod wpływem bezsenności i zmęczenia, które go czekają. Już nawet chwilowa przyjemność skończyła się; ciało i duch zbyt są wyprute z sił, aby przyjmować mile to, co partnerowi rozmowy wydaje się zabawne. Tacy ludzie podobni są do mieszkania w dniu wyjazdu lub przeprowadzki, kiedy, siedząc na kuferkach z oczami wlepionymi w zegar, odczuwa się każdą wizytę jako utrapienie.

— Nareszcie sami — rzekł Swann; nie wiem już na czym stanąłem. Nieprawdaż, mówiłem panu, że ksiązę Gilbert prosił księdza Poiré, czyby mógł odprawić mszę za Dreyfusa. „Nie — rzekł mi ksiądz (mówię *mi*, rzekł Swann, bo to ksiązę Gilbert mówi do mnie, rozumie pan?) — bo mam inną mszę, którą również polecono mi odprawić za niego. Jakto, rzekłem, więc jest jeszcze drugi katolik przeświadczony o jego niewinności? — Widocznie. — Ale opinia tego drugiego wyznawcy musi być świeższej daty niż moja? — A jednak ten zwolennik Dreyfusa już mi kazał odprawiać msze wówczas gdy ksiązę jeszcze wierzył w jego winę. — A, widzę że to nie ktoś z naszej sfery. — Przeciwnie! — Doprawdy, są między nami dreyfusiści? Zaciekawiasz mnie księżę; chętnie bym z nim pogadał, jeżeli znam tego rzadkiego ptaka. — Zna go ksiązę. — A jego nazwisko? — Księżna Marja de Guermantes”. Podczas gdy ja się bałem urazić nacjonalistyczne poglądy i francuskość mojej drogiej żony, ona bała się drażnić moje przekonania religijne, moje patriotyczne uczucia. Ale na swoją rękę myślała tak jak ja, mimo iż dawniej odemnie. I to co pokojówka ukrywała wchodząc do jej pokoju, co kupowała księżnej każdego rana, to był numer »Aurore«. Mój drogi Swann, z tą chwilą pomyślałem o przyjemności, jaką ci sprawię, zwracając ci, jak bardzo moje poglądy na tym punkcie bliskie są twoich: daruj mi, żem tego nie uczynił wcześniej. Jeżeli weźmiesz pod uwagę milczenie, jakie zachowałem wobec księżnej, nie zdziwisz się, że myśleć tak jak ty byłoby mnie jeszcze bardziej oddaliło od ciebie, niż myśleć inaczej. Bo ten przedmiot stał mi się niezmiernie przykry. Im bardziej wierzę, że popełniono omyłki a nawet zbrodnie, tem bardziej krwawi się moja miłość armji. Sądziłem, że poglądy podobne do moich nie są zdolne obudzić w tobie tej samej boleści, aż powiedziano mi pewnego dnia, że ty energicznie odpierasz obelgi miotane na armję i potępiasz to iż dreyfusiści łączą się z jej wrogami. To mnie zdecydowało; przyznaję, że mi było ciężko wyznać ci, co myślę o niektórych oficerach, nielicznych na szczęście, ale ulgą jest dla mnie nie musieć stronić od ciebie, a zwłaszcza chcę abyś był przeświadczony, że jeżeli mogłem trwać w innych uczuciach, to dlatego, żem nie wątpił o słuszności wyroku. Z chwilą gdym zaczął wątpić, mogłem pragnąć już tylko jednej rzeczy, naprawienia błędu”. Przyznaję, że słowa księcia Gilberta głęboko mnie wzruszyły. Gdyby go pan znał tak jak ja, gdybyś wiedział, z jak daleka musiał wędrować aby dojść do tego punktu, miałbyś dlań podziw, i zasługuje na to. Zresztą sąd jego nie dziwi mnie, to natura tak prawa!

Swann zapominał, że jeszcze tego dnia mówił mi przeciwnie, że o poglądach w tej sprawie Dreyfusa rozstrzyga atawizm. Conajwyżej zrobił wyjątek dla inteligencji, ponieważ u Roberta de Saint-Loup zdołała ona pokonać dziedziczność i zrobić zeń stronnika Dreyfusa. Otóż ujrzał przed chwilą, że to zwycięstwo było krótkotrwałe i że Saint-Loup przeszedł do drugiego obozu. Teraz zatem rolę przyznaną wprzód inteligencji dawał Swann prawości charakteru. W istocie, zawsze odkrywamy wstecz, że nasi przeciwnicy mieli jakieś racje aby należeć do swego stronnictwa, ale racją tą nie jest nigdy słuszność; jeżeli zaś inni myślą tak jak my, to dlatego, że inteligencja — o ile ich poziom moralny jest zbyt niski aby się nań powoływać — albo prawość charakteru — o ile nie odznaczają się bystrością umysłu — zmusiły ich do tego.

Swann przyznawał teraz bez różnicy inteligencję tym co byli jego zdania; swemu starremu przyjacielowi, księciu Gilbertowi, i memu koledze Blochowi, którego dotąd raczej unikał a którego teraz zaprosił na śniadanie. Swann zainteresował bardzo Blocha oznaj-

mieniem, że książę Gilbert jest dreyfusistą. „Trzebaby go poprosić, aby podpisał nasz adres za Picquartem; takie nazwisko sprawiłoby byczy efekt.” Ale Swann ze swoim żarliwym przekonaniem izraelity łącząc dyplomatyczny umiar światowca, którego przyzwyczajeniami zanadto nasiąkł, aby się ich móc tak późno wyzbyć, wzdragał się upoważnić Blocha do przesłania księciu — nawet samorzutnie — listy do podpisu. „On tego nie może uczynić, nie trzeba od niego żądać niepodobieństw — powtarzał Swann. — To jest uroczy człowiek, który zrobił tysiące mil, aby przybyć do nas. Może nam być bardzo użyteczny. Gdyby podpisał pańską listę, skompromitowałby się poprostu w oczach swego świata, miałby z powodu nas przykrości, może pożałowałby swoich zwierzeń i poniechałby ich na przyszłość”.

Co więcej, Swann odmówił własnego nazwiska. Uważał je za zbyt hebrajskie, aby nie miało zrobić złego wrażenia. A potem, o ile pochwalał wszystko co tyczyło rewizji procesu, nie chciał być w niczem wmieszany w kampanję antymilitarną. Nosił — czego nigdy nie robił przedtem — odznaczenie, jakie zdobył jako zupełnie młody żołnierz w r. 1870, i dodał do swego testamentu kodycył, z prośbą aby, wbrew jego poprzednim rozporządzeniom, oddano mu honory wojskowe jako kawalerowi Legji honorowej. Co zgromadziło dokoła kościoła w Combray cały szwadron owych kawalerzystów, nad których przyszłością płakała niegdyś Franciszka, kiedy sobie uprzytomniała perspektywę wojny. Krótko mówiąc, Swann odmówił podpisu na adresie Blocha, dzięki czemu, o ile w oczach wielu uchodził za zagorzałego dreyfusistę, kolega mój uznał go „letnim”, zatrutym przez nacjonalizm, bałwochwalcą munduru.

Swann opuścił mnie bez uścisku dłoni, aby uniknąć pożegnań w tej sali, gdzie miał za wielu przyjaciół; ale szepnął: „Powinienby pan odwiedzić swoją przyjaciółkę Gilbertę. Naprawdę wyrosła i zmieniła się, nie poznałby jej pan. Byłaby taka szczęśliwa!” Nie kochałem już Gilberty. Była dla mnie jak umarła, którą się długo oplakiwało; potem przyszło zapomnienie, i gdyby zmartwychwstała, nie mogłaby już wejść w życie zupełnie jej obce. Nie miałem już ochoty widzieć jej, ani nawet ochoty pokazać że mi nie zależy na jej widzeniu, mimo iż codziennie, wówczas gdym kochał, przyrzekałem sobie okazać to, kiedy jej już nie będę kochał.

Toteż, starając się już tylko zachować wobec Gilberty pozór że pragnąłbym z całego serca ją odnaleźć i że mi w tem przeszkodziły okoliczności rzekomo „niezależne od mojej woli” (które jednak zachodzą w rzeczywistości jedynie wtedy kiedy wola im nie przeciwdziała), daleki od zdradzania chłodu wobec zaproszeń Swanna, prosiłem go na odchodnym, aby wytłumaczył szczegółowo córce przeszkody jakie mnie pozbawiły i jeszcze pozbawiają możliwości odwiedzenia jej. Napiszę do niej zresztą zaraz po powrocie do domu — dodałem. Ale niech pan jej powie, że to będzie list z pogrózkami, bo za miesiąc lub dwa będę zupełnie wolny, a wówczas niech drży, bo będę u państwa tkwił równie często jak dawniej”.

Zanim się rozstałem ze Swannem, wspomniałem o jego zdrowiu. — Nie, to nie jest tak źle — odparł. Zresztą, jak panu mówiłem, jestem dość zmęczony i przyjmuje z rezygnacją wszystko co się może zdarzyć. Jedynie wyznaję, że byłoby bardzo irytujące umrzeć przed końcem sprawy Dreyfusa. Wszystkie te łajdaki mają jeszcze niejedną sztuczkę w rękawie. Nie wątpię, iż poniosą w końcu klęskę, ale ostatecznie są bardzo potężni, mają oparcie wszędzie. W chwili gdy rzeczy idą najlepiej, wszystko trzaska. Chciałbym żyć natyle, aby widzieć Dreyfusa zrehabilitowanym, a Picquarta pułkownikiem.

Kiedy Swann odszedł, wróciłem do sali balowej, gdzie znajdowała się owa księżna Marja de Guermantes, z którą — o czym nie wiedziałem wówczas — miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus<sup>947</sup>. Zauważyłem tylko, że, począwszy od pewnej epoki, baron, nie zdradzając w stosunku do księżnej Marji żadnej niechęci (która nie byłaby u niego niczem osobliwym), wciąż mając dla niej tyleż, może nawet więcej przywiązania, był wyraźnie niezadowolony i zły za każdym razem kiedy mu o niej mówiono. Nie podawał już nigdy jej nazwiska na liście osób, które pragnąłby widzieć na jakimś obiedzie.

<sup>947</sup> owa księżna Marja de Guermantes, z którą (...) miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus — całej tej partji opowiadania, zarówno jak przyszłej zażyłości bohatera utworu z księżną Marją, Proust nie rozwinął; osoba księżnej ginie z powieści prawie bez śladu. [przypis redakcyjny]

Prawda iż przedtem jeszcze słyszałem z ust jakiegoś złośliwego bywalca, że księżna Marja całkiem się zmieniła, że się kocha w panu de Charlus, ale ta obmowa wydała mi się idjotyczna i oburzyła mnie. Zauważyłem ze zdziwieniem, że kiedyś coś opowiadał o sobie i kiedy w tem opowiadaniu była mowa o panu de Charlus, księżna Marja okazywała wówczas ten wyższy stopień uwagi, który sprawia, iż chory, który, słuchając jak mówimy o sobie (tem samym słuchając z roztargnieniem i obojętnie), poznaje nagle nazwę choroby którą jest dotknięty, co go równocześnie interesuje i cieszy. Kiedy naprzykład wspomniałem: „Właśnie pan de Charlus opowiadał mi...”, księżna Marja ujmowała niejako zwolnione cugle swojej uwagi. I kiedy raz powiedziałem przy niej, że p. de Charlus darzy w tej chwili dość żywym uczuciem pewną osobę, ujrzałem ze zdziwieniem w oczach księżnej odmienny i chwilowy błysk, znaczący w źrenicach niby ślad pęknięcia a zrodzony z myśli, jaką bezwiednie słowa nasze poruszyły w osobie do której mówimy — myśli sekretnej, która nie wyrazi się w słowach, ale z poruszonych przez nas głębin wzniesie się na zmienioną przez chwilę powierzchnię wzroku. Ale, jeżeli moje słowa wzruszyły księżną Marję, nie domyślałem się w jaki sposób.

Zresztą, wkrótce potem, księżna zaczęła mówić ze mną o panu de Charlus, i prawie bez ogródek. Jeżeli robiła aluzję do pogłosek, jakie nieliczne osoby rozpuszczały o baronie, to jedynie jako do niedorzecznych i haniebnych potwarzy. Ale z drugiej strony, mówiła: „Uważam, iż kobieta któraby się zajęła człowiekiem tak olbrzymiej wartości jak Palamed, powinny mieć dość inteligencji, dość poświęcenia, aby go uznać i zrozumieć całego, takim jak jest, szanować jego swobodę, jego kaprysy, starać się jedynie usuwać mu trudności i pocieszać go w strapieniach”. Otóż, przez takie odezwania się, mimo iż mgliste, księżna Marja odsłaniała to, co starała się uświetnić — w taki sam sposób, w jaki czynił to czasem sam p. de Charlus. Słyszałem wszak nieraz, jak mówił do osób niepewnych jeszcze czy plotki krążące o nim są potwarzą: „Bywałem w życiu na wozie i pod wozem; znałem ludzi wszelkiego rodzaju, tak złodziejów jak królów, a nawet, muszę powiedzieć, z lekką predylekcją do złodziejów; ściagałem piękność pod wszelką jej postacią, etc...” Tego rodzaju powiedzenia wydawały się panu de Charlus zręczne; otóż zaprzeczając pogłoskom których istnienia ktoś nie znał (lub używając prawdy, przez dobry smak, przez umiar, przez troskę o prawdopodobieństwo, cząstki którą on jeden uważał za minimalną), baron odejmował ostatnie wątpliwości jednym, a budził ich zaczątek w drugich, nie mających ich jeszcze. Bo najniebezpieczniejszym ze wszystkich utajeń, jest utajenie samej winy w duszy winnego. Nieustanna jej świadomość nie pozwala mu się domyślić, jak dalece świat o niej nie wie i jak łatwo uwierzyłby pełnemu kłamstwu; ani też w zamian nie pozwala zdać sobie sprawy, przy jakim stopniu prawdy, w słowach które jemu wydają się niewinne, zaczyna się dla drugich wyznanie. Żeby zresztą czynił na każdy sposób, starając się taić tę prawdę, bo niema występków, któreby w wielkim świecie nie znajdowały życzliwego poparcia; zdarzało się, że przeinaczano całe urządzenie zamku, poto aby dać pokój jednej siostrze koło drugiej, z chwilą gdy się dowiedziano że się kochają nietylko jak siostry.

Miłość księżnej Marji zdradził mi zwłaszcza pewien oderwany fakt, przy którym nie będę się tu zatrzymywał, bo należy do całkiem innej historii. W owej historii<sup>948</sup> p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego, wobec którego baron czuł się straszliwie onieśmielony. Jednakże, aby skończyć z miłością księżnej Marji, powiedzmy, jaki drobiazg otworzył mi oczy w tej mierze. Byliśmy owego dnia sami w powozie. W chwili gdyśmy przejeżdżali koło poczty, kazała stanąć. Nie wzięła z sobą lokaja. Wysunęła z mufki list i uczyniła ruch taki, jakby chciała wysiąść aby list wrzucić do skrzynki. Chciałem ją zatrzymać, broniła się lekko, i już zdawaliśmy sobie oboje sprawę, że jej gest był kompromitujący, stwarzający wrażenie jakiegoś ukrywanego sekretu, mój zaś niedyskretny, naruszający ten sekret. Ona opamiętała się pierwsza. Zacerwieniwszy się nagle mocno, podała mi list; nie śmiałem go już nie wziąć, ale wrzucając list do skrzynki, ujrzałem niechęć adres pana de Charlus.

<sup>948</sup>należy do całkiem innej historii. W owej historii p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego — i tej historii nigdy Proust nie napisał. [przypis tłumacza]

Ale powróćmy do owego pierwszego wieczora u księżnej Marii. Poszedłem się z nią pożegnać, bo księstwo Błażejowie mieli mnie odwiedzić do domu, a bardzo się spieszyli. Ale książę chciał zamienić słówko z bratem, bo pani de Surgis zdążyła gdzieś za drzwiami szepnąć mu że baron był przemiły dla niej i dla jej synów. Ta wielka uprzejmość brata — pierwsza jaką mu okazał w tym zakresie — głęboko wzruszyła Błażeja i obudziła w nim uczucia rodzinne, nigdy zresztą nie zasypiające w nim na długo. W chwili gdyśmy się zegnali z księżną Marją, starał się, nie dziękując wprost bratu, okazać mu swoją czułość, czy że w istocie trudno mu ją było powściągnąć, czy że chciał aby baron zapamiętał, że jego zachowanie się tego wieczora nie przeszło w oczach brata niepostrzeżone — podobnie jak psu, który pięknie służył, daje się cukru, celem stworzenia w nim na przyszłość zbawiennych skojarzeń.

— I cóż, braciszku — rzekł książę zatrzymując pana de Charlus i biorąc go czule pod ramię — tak się przechodzi koło starszego brata, nie witając się z nim nawet? Nigdy cię już nie widzę, Mémé, nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje. Przeglądając stare szparagały, znalazłem właśnie listy naszej biednej mamy, zawsze takie serdeczne dla ciebie.

— Dziękuję, Błażeju — odparł p. de Charlus zmienionym głosem, bo nigdy nie mógł bez wzruszenia mówić o matce.

— Powinienbyś się zgodzić, żebym ci urządził skrzydło w Guermentes — dodał książę.

— To ładnie widzieć dwóch braci w takich czułościach — rzekła księżna Marja do bratowej.

— Och, co do tego, nie sądzę aby można było znaleźć wielu takich braci. Zaproszę pana z nim razem — przyrzekła mi księżna Oriana. Nie jest pan z nim źle?... Ale co oni mogą mieć sobie do powiedzenia — dodała niespokojnie, bo nie słyszała dobrze co mówili. Zawsze była nieco zazdrosna o przyjemność, jaką p. de Guermentes znajdował w rozmowie z bratem, o przeszłość od której trzymał żonę trochę zdała. Czuli, że kiedy im tak jest dobrze z sobą i kiedy ona, nie mogąc powstrzymać niecierpliwej ciekawości, podchodzi do nich, obecność jej nie jest im miła. Ale tego wieczora, z ową zwyczajną zazdrością łączyła się inna. Bo jeżeli pani de Surgis opowiedziała panu de Guermentes o uprzejmości brata, iżby mu za to podziękował, równocześnie serdeczne przyjaciółki państwa de Guermentes uważały za obowiązek uprzedzić Oriane, że kochankę jej męża widziano sam na sam z jego bratem. I panią de Guermentes dręczyło to.

— Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi niegdyś w Guermentes — ciągnął książę Błażej, zwracając się do pana de Charlus. Gdybyś tam przyjechał czasem w lecie, wskrzesiliśmy błogie dni. Przypominasz sobie starego Courveau ze swoim: Dlaczego Pascal jest wzruszający? bo jest wzru... wzru...

— Szony, wyrecytował p. de Charlus, tak jakby jeszcze wydawał lekcję nauczycielowi. A czemu Pascal jest wzruszony: bo jest wzru... bo jest wzruszający. Bardzo dobrze, zdasz egzamin, a księżna pani kupi ci słownik chiński.

— Czy pamiętam, drogi Mémé, a stary wazon chiński, który ci przywiózł Hervey de Saint-Denis, widzę go jeszcze! Groziłeś nam, że się wyniesiesz na stałe do Chin, taki byłeś zachwycony tym krajem; już wówczas lubiłeś dalekie włóczęgi. Och, ty byłeś specjalny typ; można powiedzieć, że w niczem nie miałeś gustów takich jak inni...

Ale zaledwie książę Błażej wyrzekł te słowa, ugryzł się, jak to powiadają, w język, bo znał, jeżeli nie obyczaj, to przynajmniej reputację brata. Ponieważ nie wspominał o tem nigdy, był tem bardziej zażenowany, że powiedział coś, co mogło wyglądać na dwuznaczną aluzję, a jeszcze bardziej tem, że wydał się zażenowany. Po chwili milczenia, aby zatrzeć wrażenie ostatnich słów, dodał:

— Kto wie, kochałeś się może w jakiej Chince, zanim ci przyszło kochać i rozkochać w sobie tyle białych, jeżeli mam o tem sądzić po pewnej damie, której sprawiłeś wielką przyjemność, rozmawiając z nią dziś wieczór. Jest tobą oczarowana.

Książę przyrzekł sobie nie mówić o pani de Surgis, ale w zamęcie, jaki wniosła w jego myśli świeżo popełniona gaffa, rzucił się na najbliższy temat, właśnie ten który nie powinien był się zjawiać w rozmowie, mimo że był jej powodem. Ale p. de Charlus zauważył rumieniec brata. I jak zbrodniarze, którzy, nie chcąc okazać zakłopotania, kiedy się mówi przy nich o niewykrytej zbrodni, silą się podtrzymać niebezpieczną rozmowę, odparł:

— Bardzo mnie to cieszy, ale pragnę wrócić do poprzedniego zdania, które mi się wydaje głęboko prawdziwe. Powiedziałeś, że nigdy nie miałem pojęć takich jak wszyscy; jakie to trafne; mówiłeś, że mam specjalne gusty.

— Ależ nie — zaprotestował p. de Guermantes, który w istocie nie powiedział tych słów i nie pomawiał może brata o to co one mogły znaczyć. Zresztą, czyżby się czuł w prawie dręczyć go dla anomalij, które w każdym razie zostały na tyle wątpliwe lub na tyle ukryte, aby nie szkodzić w niczem wspaniałej sytuacji barona? Co więcej, czując w sytuacji brata ewentualne oparcie dla swoich kochanek, książę powiedział sobie, że to jest warte w zamian paru miłych słów; i gdyby znał w tej chwili jakiś „specjalny” stosunek brata, i tak, w nadziei spodziewanego poparcia — skojarzonej z pietyzmem dla pewnych wspomnień — książę Błażej przeszedłby nad tem do porządku przymykając oczy, a w potrzebie użyłby bratu pomocnej ręki.

— Ależ, Błażeju; dobry wieczór Palamedzie — rzekła księżna, która trawiona irytacją i ciekawością, nie mogła już wytrzymać — jeżeliście postanowili spędzić noc tutaj, lepiej żebyśmy zostali na kolacji. Trzymacie nas obie z Marią na nogach od pół godziny.

Książę opuścił brata po znaczącym uścisku i zesłiśmy we troje po olbrzymich schodach pałacu.

Z obu stron, na najwyższych stopniach, grupowały się pary, czekające aż zajędzie powóz. Wyprostowana, odcinająca się od innych, mająca po bokach męża i mnie, księżna Oriana stała po lewej stronie schodów, już zawinięta w swój płaszcz a la Tiepolo, z szyją ujętą w rubinowy fermuar, pożerana oczami przez kobiety, przez mężczyzn, siłujących się podchwycić sekret jej elegancji i urody. Czekając na powóz na tym samym stopniu ale po przeciwnej stronie schodów, pani de Gallardon, która od dawna straciła nadzieję wizyty swojej kuzynki, odwróciła się plecami, aby nie okazać że ją widzi, a zwłaszcza nie dostarczyć dowodu że się jej księżna nie kłania. Pani de Gallardon była w fatalnym humorze, bo panowie, którzy jej towarzyszyli, uważali za obowiązek zabawiać ją Oriana.

— Nie zależy mi wcale na jej widoku — odparła — widziałem ją zresztą przed chwilą, zaczyna się starzeć, zdaje się że się nie może z tem pogodzić. Błażej sam to powiada. Ba, rozumiem ją, nie jest inteligentna, jest zła jak osa, i ma fatalne wzięcie, czuje więc że kiedy straci urodę, nie zostanie jej nic.

Włożyłem palto, co p. de Guermantes, który się bał zaziębień, zganil z powodu gorąca panującego na schodach. A pokolenie arystokracji, które mniej lub więcej przeszło przez biskupa Dupanloup, mówi (z wyjątkiem Castellane’ów) tak lichą francuszczyzną, że książę wyraził swoją myśl tak: „Lepiej jest nie nakrywać głowy przed wyjściem, przynajmniej jako tezę ogólną”.

Widzę całe to wyjście; widzę — jeżeli nie przez omyłkę pomieszczę go na tych schodach niby portret wyrwany z ramy — księcia de Sagan, dla którego to był ostatni wieczór w „świecie”, jak odkrywa głowę, aby złożyć ukłon księżnej z tak szerokim gestem szapokłaka w białą urękawiczoną rękę, stanowiącej *pendant* do gardenji w klapie iż dziw był, że to nie jest piłśniowy kapelusz z piórem owego *ancien régime*, z którego liczne twarze przodków powtórzyły się wiernie w twarzy tego wielkiego pana. Zatrzymał się zresztą tylko chwilę przy Orianie, ale jego pozy, nawet chwilowe, wystarczały, aby stworzyć cały żywy obraz i jakby historyczną scenę. Ponieważ zresztą umarł niebawem, a za życia zaledwie go widziałem, stał się dla mnie tak bardzo figurą z historii — bodaj z historii „światowej” — że zdarza mi się zdziwić, gdy pomyślę, że jego siostra i siostrzenica należą do moich znajomych.

Podczas gdyśmy schodzili w dół, wstępowała po schodach z wyrazem zmęczenia, z którym jej było do twarzy, kobieta wyglądająca na lat czterdzieści, mimo że ich miała więcej. Była to księżna d’Orvilliers, naturalna córka (jak mówiono) księcia Parmy, której słodki głos barwił się lekkim austriackim akcentem. Posuwała się, wysoka, pochylona, w białej jedwabnej sukni w kwiaty, pozwalając swojej czarującej, pulsującej i zmęczonej piersi dyszeć poprzez rząd djamentów i szafirów. Potrząsając głową niby królewska klacz, której zawadzałaby uprzęż nabijana perłami bezcennej wartości i uciążliwej wagi, wodziła swoje słodkie i urocze spojrzenia, których błękit, w miarę zużycia, nabierał jeszcze więcej słodczy. Idąc, zęgnąła większość odchodzących przyjacielskiem skinieniem głowy.

— O ładnej godzinie przychodzisz, Paulinko! — rzekła księżna Oriana.

— Och, tak, bardzo żałuję. Ale doprawdy, nie było fizycznej możliwości — odparła księżna d'Orvilliers, która przejęła od Oriany ten rodzaj wyrażenia, ale okraszała je naturalną słodyczą i wyrazem szczerości, jaki tkliwemu jej głosowi dawał lekko germański akcent. Robiła wrażenie, że czyni aluzję do komplikacji życia zbyt długich do opowiedzenia, a nie poprostu do innych przyjęć, z których wracała w tej chwili. Ale nie one były przyczyną tego spóźnienia. Ponieważ książę Gilbert przez długie lata zabraniał żonie przyjmować pani d'Orvilliers, ta, kiedy uchylono interdykt, ograniczała się do rzucania biletów, aby się nie wydawało że jest spragniona zaproszeń. Po paru latach tej metody, zaczęła przychodzić sama, ale późno, jakby po teatrze. W ten sposób stwarzała pozór, że jej nie zależy na wieczorze, ani na tem aby ją tam widziano; ale że poprostu oddaje wizytę księciu Gilbertowi i księżnej Marji, jedynie dla nich, przez sympatię, w chwili gdy po odejściu większości obecnych, lepiej będzie mogła „ich mieć dla siebie”.

— Oriana doprawdy spadła na ostatni szczebel — mruzczała pani de Gallardon. — Nie rozumiem, że Błażej pozwala jej mówić z taką d'Orvilliers. To pewna, że mój mąż nie pozwoliłby mi na to.

Co do mnie, poznałem w pani d'Orvilliers kobietę, która w pobliżu pałacu Guermantes rzuciła mi długie tęskne spojrzenia, odwracała się, zatrzymywała się przed szybami sklepowymi. Księżna przedstawiła mnie; pani d'Orvilliers była urocza, ani zbyt uprzejma, ani chłodna. Spojrzała na mnie jak na wszystkich swojemi słodkimi oczami... Ale nie miałem już nigdy, ilekroć ją spotkałem, uzyskać od niej najmniejszego z owych gestów, w których zdawała się oddawać. Są specjalne spojrzenia, robiące wrażenie że ktoś nas poznaje, które młody człowiek otrzymuje od pewnych kobiet — i od pewnych mężczyzn — jedynie do dnia, w którym go w istocie poznali i dowiedzieli się że jest przyjacielem ich przyjaciół.

Oznajmiono, że powóz zajechał. Pani de Guermantes ujęła czerwoną spódnicę jakgdyby poto aby zejść i wsiąść do karety; ale powodowana może wyrzutem lub chęcią sprawienia przyjemności, a zwłaszcza skorzystania z krótkości czasu, jaką fizyczna niemożność zakreślała tak nudnemu aktowi, spojrzała na panią de Gallardon, potem, jakgdyby ją dopiero spostrzegła, przebyła, zanim zeszła na dół, całą szerokość stopnia i dotarłszy do zachwyconej kuzynki, podała jej rękę.

— Jakże dawno... — rzekła księżna. I, aby nie musieć dłużej rozwijać wszystkiego co w zakresie żalów i wyjaśnień zawierała ta formułka, obróciła się z przerażoną miną ku księciu, który zeszedłszy ze mną do karety, w istocie grzmiał, widząc iż żona zatrzymuje się przy pani de Gallardon i wstrzymuje ruch dalszych pojazdów.

— Oriana jest jednak jeszcze bardzo piękna — rzekła pani de Gallardon. — Bawią mnie ludzie, którzy mówią, że my jesteśmy chłodno z sobą; możemy — z przyczyn, w które nie potrzebujemy nikogo wtajemniczać — nie widywać się całe lata, ale i tak mamy zbyt wiele wspólnych wspomnień aby się naprawdę kiedykolwiek rozejść. W gruncie ona wie dobrze, że mnie kocha bardziej niż tylu ludzi których widuje codzień a którzy nie są z jej sfery.

Pani de Gallardon była w istocie niby ci wżgardzeni kochankowie, którzy chcą wszelkimi siłami wmówić, że są bardziej kochani, niż ci których pieści ich luba. I pochwałami swemi, któremi, bez troski o sprzeczność z tem co mówiła przed chwilą, obsypała księżną de Guermantes, pani de Gallardon dowiodła pośrednio, że Oriana posiada do gruntu zasady, jakimi w swojej karierze winna się rządzić wielka elegantka, która, właśnie w chwili gdy jej najcudniejsza toaleta wzbudza — obok podziwu — zawiść, powinna umieć przebyć całą szerokość schodów, aby tę zawiść rozbroić.

— Uważaj choć, żeby nie zmoczyć trzewików (spadł świeżo mały deszcz), rzekł książę, jeszcze wściekły że czekał.

W czasie powrotu, z powodu szczupłości karety, czerwone trzewiki znalazły się bardzo blisko moich, a pani de Guermantes, bojąc się że mogły ich dotknąć, rzekła do księcia:

— Ten młody człowiek będzie zmuszony powiedzieć mi, jak na jakiejś karykaturze: „Niech mi pani zaraz powie że mnie pani kocha, ale niech mi pani tak nie depce po nogach”.

Moje myśli były zresztą dość daleko od pani de Guermantes. Od czasu jak Saint-Lo-up wspomnił mi o młodej panie wielkiego rodu, uczęszczającej do domu schadzek, i o pokojówce baronowej Putbus, w dwóch tych osobach tworzących jedną bryłę stre-

ściły się pragnienia budzone we mnie codzien przez tyle piękności z dwóch klas: z jednej strony pospolite i wspaniałe majestatyczne panny służące z wielkiego domu, wzdęte pychą i używające słowa „my” mówiąc o księżnych; z drugiej strony owe młode dziewczęta, których nazwisko wystarczało mi czasem wyczytać w sprawozdaniu z balu — nawet gdy ich nie widział w powozie lub pieszo — abym się w nich zakochał i abym, przeskakawszy sumiennie w skorowidzu zamki gdzie spędzają lato, marzył (często dając się zmylić podobieństwu nazwiska) kolejno o tem aby mieszkać w równiach Zachodu, na dunach Północy, w piniowych lasach Południa. Ale daremnie stapałem cały najrozkoszniejszy materiał cielesny, aby, w myśl kreślonego mi przez Roberta ideału, stworzyć lekkomyślną pannę oraz pokojówkę pani Putbus; dwóm tym przystępnym pięknościom brakowało tego, czego nie mogłem znać, dopóki bym ich nie ujrzał naocznie: indywidualności. Naprawdę miałem się męczyć, starając się — w ciągu miesięcy, w których wolałbym pokojówkę — wyobrazić sobie pannę służącą pani Putbus. Ale, po okresie, kiedy mnie wciąż nękała niespokojna żądza tylu ulotnych istot, których często nie znałem nawet imienia, które były w każdym razie tak trudne do odnalezienia, bardziej jeszcze do poznania, niepodobne może do zdobycia, cóż za spokój wybrać z tej rozsianej, pierzchliwej, bezimiennej Piękności dwa przednie okazy, opatrzone strzałką kierunkową, co do których byłem bodaj pewny, że mogę je sobie sprokurować dowoli. Odsuwałem godzinę tej podwójnej rozkoszy, niby godzinę pracy; ale pewność, że ją będę miał kiedy zechcę, uwalniała mnie niemal od jej zrealizowania, jak owe proszki nasenne, które wystarczy mieć pod ręką aby ich nie potrzebować i zasnąć. Pragnąłem w całym świecie jedynie dwóch kobiet, których twarzy coprawda nie mogłem sobie wyobrazić, ale których nazwiska podał mi Saint-Lo-up, ręcząc za ich uczynność. Tak iż jeżeli swymi niedawnymi słowami zadał ciężką pracę mojej wyobraźni, zapewnił mi w zamian cenne odprężenie, trwały spokój woli.

— I cóż — rzekła księżna Oriana — poza balami, czy nie mogę panu być w niczem użyteczna? Czy jest salon, do którego miałby pan ochotę abym pana wprowadziła?

Odpowiedziałem, że się boję, aby jedyny salon, który budzi we mnie tę ochotę, nie był dla niej za mało elegancki. „Cóż to takiego?” spytała groźnym i chrapliwym głosem, prawie nie otwierając ust. — Baronowa Putbus”.

Tym razem księżna udała prawdziwy gniew.

— Nie, doprawdy, zdaje się że pan kpi sobie ze mnie! Nie wiem nawet, jakim cudem znam nazwisko tej klempy. Ależ to są szumowiny! To tak, jakby mnie pan prosił, żebym pana przedstawiła mojej krawcowej. A i to nie, moja krawcowa jest urocza. Pan jest trochę pomyłony, mój biedny chłopcze. W każdym razie, błagam, niech pan będzie grzeczny dla osób którym pana przedstawiłam, niech im pan rzuci bilety i pójdzie do nich z wizytą, i niech im pan nie opowiada o baronowej Putbus, której nie znają.

Spytałem, czy pani d’Orvilliers nie jest potrosze osobą lekkich obyczajów. — Och, wcale nie, myli ją pan z kimś; raczej świętula. Prawda, Błażeju? — Tak, w każdym razie nie sądzę, aby kiedy o niej coś mówiono, rzekł książę.

— Nie chce pan iść z nami na redutę? spytał. Pożyczę panu weneckiego płaszcza. Znam kogoś, komu by to zrobiło djabelną przyjemność; najpierw Orianie — tego nie potrzeba mówić — ale księżnej Parmy. Cały czas śpiewa hymny na pańską cześć, mówi tylko o panu. Szczęściem dla pana — szczęściem, bo jest trochę przejrzała — jest absolutnie cnotliwa. Bez tego, wzięłaby pana z pewnością za *cicisbeo*, jak się mówiło za czasu mojej młodości; rodzaj *cavaliere servante*.

Nie zależało mi na reducie, a zależało mi na schadzce z Albertyną. Toteż wymówiłem się. Karetą się zatrzymała, lokaj krzyknął na odźwiernego, konie parskały, aż wreszcie otwarto bramę na oścież i powóz wjechał w dziedziniec.

— Do zobaczyska — krzyknął książę.

— Żalowałam czasami, że mieszkam tak blisko Marji — rzekła do mnie księżna — bo o ile ją bardzo lubię, o tyle troszkę mniej lubię ją widywać. Ale nigdy nie żalowałam tej bliskości tak jak dzisiaj, skoro przez to tak prędko musimy się rozstać.

— No, Oriano, bez przemów.

Księżna chciała, abym wstąpił na chwilę do nich. Uśmieła się serdecznie, zarówno jak i książę, kiedym powiedział, że nie mogę, bo pewna młoda panienska ma być u mnie z wizytą. „Ma pan zabawną godzinę na przyjmowanie wizyt, rzekła. — No, moje dziecko, spieszymy się, rzekł pan de Guermantes do żony. Jest trzy kwadranse na dwunastą,



a jeszcze mamy się przebrać” ... Ale natknął się na dwie damy z laskami, które surowo strzegły bramy: nie lękały się zstąpić nocną porą ze swoich wyżyn aby zapobiec skandalowi. „Błazeju, chciałyśmy cię uprzedzić, bojąc się aby cię nie ujrano na tej reducie; biedny Amanian właśnie skończył, będzie godzina temu”. Książę przestraszył się przez chwilę. Widział sławną redutę walącą się dłań w gruz, z chwilą gdy go te przeklęte „góralki” uprzedziły o śmierci pana d’Osmond. Ale opanował się szybko i rzucił dwóm kuzynkom zdanie, w które, wraz z postanowieniem nie wyrzeczenia się przyjemności, włożył swoją niezdolność ścisłego przyswojenia sobie użytku słów: „Umarł! ale nie, przesadzają, przesadzają!” I nie zajmując się więcej kuzynkami, które, zbrojne w alpensztoki, miały się wspinać po nocy do swojej siedziby, rzucił się gorączkowo na lokaja:

— Czy mój kask przyszedł? — Tak, proszę księcia. — Jest dziurka do oddechania? Nie mam ochoty się udusić, u djaska! — Tak, proszę księcia pana. — A, kroćset bomb, to jakiś przekłety wieczór. Oriano, zapomniałem się spytać Babala, czy trzewiki z nosami są dla ciebie. — Ależ, mój drogi, skoro kostjumer z Opéra-Comique jest tutaj, powie nam wszystko. Ale ja nie sądzę, aby się to nadało przy twoich ostrogach. — Chodźmy do kostjumera, rzekł książę. Do widzenia, drogi panie, zaproponowałbym panu, żeby pan wstąpił z nami na chwilę podczas gdy będziemy przymierzali, toby pana zabawiło. Ale zagadalibyśmy się, już się robi dwunasta, a chciałbym się nie spóźnić, żeby zabawa była całkiem udana.

Mnie także było pilno pożegnać coprędzej państwa de Guermantes. *Fedra* kończyła się koło wpół do dwunastej. Licząc czas potrzebny na drogę, Albertyna musiała już być. Udałem się wprost do Franciszki: „Czy panna Albertyna jest? — Nie było nikogo”.

Mój Boże, czy to znaczyło, że nikt nie przyjdzie? Byłem w rozpacz, wizyta Albertyny była mi teraz bardziej upragniona, bo mniej pewna.

Franciszka była też w złym humorze, ale z całkiem innej przyczyny. Zasadziła właśnie córkę do stołu do soczystej wieczerzy. Ale słysząc że nadchodzi, widząc że zbraknie jej czasu na usunięcie półmisków i rozłożenie igieł i nici tak jakby chodziło o robotę a nie o kolację, rzekła:

— Zjadła właśnie łyżkę zupy, zmusiłam ją żeby coś przetrząła — rzekła aby zredukować w ten sposób do zera kolację córki i tak jakby obfitość tej kolacji była występkiem. Nawet przy śniadaniu lub przy obiedzie, kiedy popełnił ten błąd aby wejść do kuchni. Franciszka udawała zawsze że już skończyli i tłumaczyła się wręcz, mówiąc: „Chciałam zjeść *kawalek*, albo *kruszynę*. Ale uspokoilem się, widząc mnogość półmisków, których Franciszka, zaskoczona mojem nagłym wejściem — jak złoczyńca, którym nie była przecież — nie miała czasu sprzątnąć. Potem dodała: „No, idź spać, dosyć pracowałaś dzisiaj (bo chciała osiągnąć wrażenie nietylko że jej córka nic nas nie kosztuje, że żyje powietrzem, ale jeszcze że się zabija dla nas pracą). Tylko zawadzasz w kuchni i przeszkadzasz paniczowi, który spodziewa się gości. No, zabieraj się”, dodała tak, jakby musiała używać swojej powagi, aby wyprawić spać córkę, która, z chwilą gdy kolacja spaliła na panewce, była tu tylko „dla pucu” i gdybym został jeszcze pięć minut dłużej, zabrałaby się sama z siebie. I obracając się ku mnie, w tej swojej pięknej francuzczyźnie ludowej a jednak trochę indywidualnej, Franciszka rzekła: „Pan nie widzi, że aż się jej twarz zwija z ochoty do spania”. Byłem uszczęśliwiony, że nie muszę rozmawiać z córką Franciszki.

Wspomniałem, że była po mężu ze wsi obok wsi jej matki, a jednak odmiennej charakterem ziemi, uprawą roli, gwarą, zwłaszcza pewnymi właściwościami mieszkańców. Toteż „rzeźniczka” i siostrzenica Franciszki niełatwo się porozumiewały, ale miały tę wspólność, że kiedy szły razem na sprawunki, zasiadywały się godzinami „u siostry”, albo „u kuzynki”, niezdolne same z siebie skończyć jakąś rozmowę. W trakcie tej gawędy, cel, który był powodem ich wyjścia z domu, rozwiewał się do tego stopnia, że kiedy się im rzekło za powrotem: „No i co, czy pan de Norpois będzie w domu o kwadrans na siódmą? nie były się nawet w czoło, mówiąc: „Och, zapomniałam”, ale powiadały: „A! nie rozumiałam, że panu o to chodzi; myślałam, że mu się tylko trzeba kłaniać.” Jeżeli traciły głowę w ten sposób dla rzeczy powiedzianej przed godziną, w zamian za to niepodobna im było wybić z głowy tego, co raz usłyszały z ust siostry lub *kuzynki*. I tak, jeżeli rzeźniczka usłyszała gdzieś że Anglicy prowadzili z nami wojnę w roku 1870 równocześnie z Prusakami, daremnie mogłem tłumaczyć że to fałsz, co trzy tygodnie rzeźniczka powtarzała mi w trakcie rozmowy: „To skroś tej wojny, jaką Anglicy z nami prowadzili

w siedemdziesiątym, razem z Pruskiemi. — Ale mówiłem pani sto razy, że to nieprawda”. Odpowiadała (co było oznaką, że nic nie zdołało zachwiać jej przekonania): „W każdym razie, to nie jest powód, żeby do nich mieć pretensje. Od siedemdziesiątego roku dużo wody upłynęło.” Innym razem, propagując wojnę z Anglią, którą ja potępiałem, mówiła: „Juścić, że lepiej żeby wojny nie było, ale skoro musi być, lepiej niech będzie zaraz. Tłumaczyła mi dziś siostra, że od czasu tej wojny, jaką Angliki miały z nami w siedemdziesiątym, traktaty handlowe niszczą nas. Skoro się ich pobije, nie wpuści się już do Francji żadnego Anglika aż zapłaci trzysta franków wstępu, jak my płacimy teraz, jadący do Anglii.”

Taki był charakter mieszkańców tej wioski, która liczyła nie więcej niż pięciuset obywateli i którą okalały kasztany, wierzby, pola kartofli i buraków. Przy wielkiej uczciwości, głuchy upór w tem aby nie dać sobie przerywać, aby podejmować dwadzieścia razy tam gdzie stanęły kiedy im przerwano, co wkońcu dawało ich gawędom niewzruszoną konsystencję fugi Bacha.

Córka Franciszki uważała się przeciwnie za kobietę dzisiejszą, która porzuciła przestarzałe formy. Mówiła gwarą paryską i nie przepuściła nigdy utartego konceptu. Kiedy Franciszka powiedziała jej, że wracam od księżnej, rzekła: „Znam, wiem, księżna z nieprawdziwego zdarzenia”. Nie były to żarciki w zbyt dobrym smaku. Ale bardziej mnie uraziło, kiedy, pocieszając mnie wobec spóźnienia Albertyny, powiedziała: „Myślę, że może pan jej czekać do pojutra rana. Och, te dzisiejsze podfruwajki!”

Tak więc, język jej różnił się od języka jej matki, ale co ciekawsze, język matki nie pokrywał się znowuż z językiem babki, urodzonej w Bailleau-le-Pin, tak blisko stron Franciszki. Mimo to, gwary tamtejsze różniły się lekko, jak krajobrazy. W wiosce matki Franciszki grunt zniżał się do parowu, często spotykało się wierzby. I przeciwnie bardzo daleko stamtąd była we Francji miejscowość, gdzie mówiono prawie zupełnie tą samą gwarą co w Méséglise. Odkryłem to w okolicznościach, połączonych dla mnie z irytacją. W istocie, zastałem raz Franciszkę zagadaną z pokojówką z naszego domu, która była z tamtych stron i mówiła tą gwarą. Rozumiały się wcale dobrze, ja nie rozumiałem ich wcale, one wiedziały o tem, mimo to nie przestawały, usprawiedliwione, jak sądziły, radością że są krajanki, mimo iż zrodzone tak daleko od siebie. I dalej mówiły przy mnie tym obcym językiem, jak wówczas kiedy się nie chce być zrozumianym. Te malownicze studia lingwistycznej geografii i kuchennego koleżeństwa ciągnęły się w kuchni co tydzień, nie sprawiając mi wcale przyjemności.

Za każdym razem, kiedy się brama wjazdowa otwierała, odźwierny naciskał guzik elektryczny oświetlający schody. Wszyscy lokatorzy wrócili już do domu. Toteż opuściłem kuchnię i siadłem w przedpokoju. Portjera, nie dość szczelna, nie zupełnie pokrywała oszklone drzwi naszego mieszkania, przepuszczając ciemną prostopadłą smugę utworzoną przez półmrok schodów. Gdyby nagle ta smuga stała się złoto-blond, znaczyłoby to, że Albertyna weszła do bramy i że za dwie minuty będzie przy mnie; nikt inny nie mógł już przyjść o tej porze. I tak siedziałem, nie mogąc oderwać oczu od smugi, która uparcie wciąż była ciemna; wychylałem się cały, aby być pewny, że dobrze widzę; ale daremnie wytężyłem wzrok, pionowa czarna strzała, mimo mego namiętnego pragnienia, nie dawała mi owej upajającej radości, jakąbym miał, gdyby ją nagle i wróżebne czary zmieniły w promienną sztabę złota. Czy nie za wiele wzruszeń jak dla tej Albertyny, o której nie myślałem ani trzech minut na raucie u Guermantów! Ale, budząc uczucie oczekiwania, niegdyś doznawane z powodu innych dziewcząt — zwłaszcza Gilberty, kiedy się spóźniała — możliwość utraty prostej rozkoszy fizycznej sprawiała mi okrutne cierpienie moralne.

Trzeba mi było wrócić do pokoju. Franciszka udała się za mną. Uważała (skorom już wrócił z zabawy), że róża w butonierce jest zbyt duża, i przysłała mi ją odpiąć. Gest jej, przypominając mi że Albertyna mogłaby już nie przyjść i zmuszając mnie zarazem do wyznania że chciałem być dla niej strojnieszyszy, przyprawił mnie o irytację, którą zdwoił fakt, iż wyrrywając się gwałtownie, zgmiotłem kwiat i że Franciszka powiedziała: „Lepiej było dać mi ją odpiąć, niż tak zepsuć”. Zresztą najdrobniejsze słowa Franciszki drażniły mnie. Czekać, tak bardzo męczymy się nieobecnością upragnionej osoby, że niepodobna nam znieść innej obecności.

Skoro Franciszka wyszła z pokoju, pomyślałem, że jeżeli miałem dojść teraz do koieterji wobec Albertyny, źle się stało, żem się jej pokazywał tyle razy nieogolony, z kil-

kodniowym zarostem, w owe wieczory kiedym jej pozwalał przyjść aby wznowić nasze pieszczoty. Czulem, że niezbyt dba o mnie, skoro mnie zostawia samego. Aby upiększyć nieco pokój — na wypadek gdyby Albertyna przyszła jeszcze i ponieważ to była jedna z najładniejszych rzeczy jakie posiadałem — położyłem, pierwszy raz od wielu lat, na stoliku obok łóżka, ową wysadzoną turkusami teczkę, którą Gilberta kazała dla mnie zrobić na broszurę Bergotte'a i którą długo kładłem przy sobie na noc obok kuli agatowej. Zresztą, tyleż może co wciąż nieobecna Albertyna, bytność jej w tej chwili w jakimś „gdzieindziej” — dla niej widocznie milszem, a mnie nieznanem — dawała mi bolesne uczucie, które — mimo tego com przed godziną mówił Swannowi o moim braku zażdości — mogłoby, gdybym widywał moją przyjaciółkę w mniej rzadkich odstępach, zmienić się w gorączkową potrzebę wiedzenia gdzie i z kim spędza czas. Nie śmiałem posłać do Albertyny, było za późno; ale w nadziei że wybrawszy się może z przyjaciółkami na chwilę do kawiarni, wpadłaby na myśl aby do mnie zatelefonować, przestawiłem wyłącznik i przelączając telefon na swój pokój, przeciąłem komunikację między biurem telefonicznym a lożą odzwiernego, z którą było ono zazwyczaj o tej godzinie połączone. Mieć aparat w kurytarzyku, na który wychodził pokój Franciszki, byłoby prostsze, mniej uciążliwe, ale bezcelowe. Postępy cywilizacji pozwalają każdemu ujawnić niepodejrzewane zalety lub nowe przywary, które ich czynią droższym lub nieznośniejszym dla przyjaciół. W ten sposób, odkrycie Edisona pozwoliło Franciszce nabyć jedną wadę więcej, mianowicie tę, że choćby zachodziła nie wiem jak ważna i pilna potrzeba, wzbraniała się użyć telefonu. Uciekała poprostu, kiedy się ją chciało nauczyć z nim obchodzić, jak inne służące uciekają przed szczepieniem ospy. Toteż telefon znajdował się w moim pokoju, aby zaś nie przeszkadzał rodzicom, dzwonek zastąpiony był głuchem tarczeniem.

Z obawy że go nie usłyszę, nie ruszałem się. Nieruchomość moja była taka, że pierwszy raz od wielu miesięcy zauważyłem tykanie zegara. Franciszka przyszła sprzątnąć. Rozmawiała ze mną, ale ja nie znosiłem tej rozmowy, pod której jednostajnie banalną ciągłością uczucia moje zmieniały się co chwila, przechodząc od obawy do lęku, od lęku do zupełnego zwątpienia. Twarz moja, różna od zdawkowo pogodnych słów, jakimi uważałem za właściwe odpowiadać Franciszce, była — czulem to — tak zboląła, że zacząłem skarżyć na reumatyzm, aby wytłumaczyć rozdźwięk między udaną obojętnością a tym bolesnym wyrazem. Zarazem bałem się, aby rzucane zresztą półgłosem słowa Franciszki (nie na temat Albertyny, bo Franciszka sądziła że już dawno minęła godzina jej możliwego przyjścia) nie przeszkodziły mi dosłyszeć zbawczego i niepowrotnego sygnału. W końcu, Franciszka poszła się położyć; odprawiłem ją z szorstką dobroduszością, aby, odchodząc, hałasem nie pokryła dźwięku telefonu. I zacząłem na nowo słuchać, cierpieć. Kiedy czekamy, podwójna droga od ucha chwytającego dźwięki do mózgu który je rozbiera i analizuje, i od mózgu do serca, któremu mózg przekazuje swoje wyniki, jest tak szybka, że nie możemy nawet pochwycić jej trwania i że się nam wydaje iż słuchaliśmy wprost sercem.

Dręczyło mnie nieustanne pragnienie, wciąż niespokojniejsze i wciąż nie spełnione — pragnienie sygnału telefonicznego. Kiedy doszło szczytowego punktu bolesnego wznoszenia się w spiralach mojej samotnej udręki, naraz, z głębi ludnego i nocnego Paryża zbliżonego nagle do mnie, tuż koło szafy z książkami, usłyszałem — mechaniczne i wzniosłe, niby w *Tristanie* powiewająca szarfa lub fujarka pasterza — tarczenie telefonu. Poskoczyłem, to była Albertyna.

— Czy nie przeszkadzam ci, telefonując o takiej porze?

— Ależ nie... rzekłem hamując radość, bo jeżeli wspomniała spóźnioną godzinę, to z pewnością dla usprawiedliwienia się że przyjdzie za chwilę tak późno, a nie że nie przyjdzie. — Czy przyjdiesz? — spytałem obojętnym tonem.

— Ale... nie, jeśli nie potrzebujesz mnie koniecznie.

Część mojego ja, z którą druga część chciała się połączyć, mieściła się w Albertynie. Trzeba mi było, aby przyszła; ale nie powiedziałem tego odrazu; ponieważ byliśmy połączeni, powiadałem sobie, że mogę ją zawsze skłonić w ostatniej sekundzie bądź aby przyszła do mnie, bądź aby mi pozwoliła pobiec do siebie. „Tak, jestem blisko domu — rzekła — a straszliwie daleko od ciebie; nie dobrze odczytałam twój bilecik. Znalazłam go w tej chwili i zląkłam się, że ty czekasz na mnie”.

Czułem że kłamie; teraz, wściekły, raczej przez potrzebę deranżowania jej niż jej widzenia, chciałem ją zmusić żeby przyszła. Ale chciałem najpierw odtrącić to, co postarałbym się uzyskać za chwilę. Ale gdzie ona jest? Ze słowami jej mieszały się inne dźwięki; trąbka cyklisty, jakiś śpiew kobiety, odległa fanfara, rozbrzmiewały równie wyraźnie jak ten drogi głos, jakby dla dowiedzenia mi, że to istotnie Albertyna w swoim obecnym środowisku jest koło mnie w tej chwili, niby grudka ziemi, z którą przeniosło się wszystkie wrosnięte w nią trawy. Odgłosy, które słyszałem, rozlegały się również w jej uchu i rozrywały jej uwagę: szczegóły prawdy, obce danemu przedmiotowi, bezużyteczne same w sobie, tem potrzebniejsze aby nam objawić oczywistość cudu; skąpe i urocze rysy określające jakąś ulicę paryską, zarazem przeszywające i okrutne rysy jakiegoś nieznanego wieczora, które, po wyjściu z *Fedry*, nie pozwoliły Albertynie przyjść do mnie.

— Na wstępie, uprzedzam cię (rzekłem), że nie mówię po to żebyś przyszła, bo o tej porze byłoby mi to bardzo nie na rękę, upadam z senności. A przy tem... mniejsza, są różne komplikacje. Ale chcę stwierdzić, że nie było możliwości niezrozumienia mojego listu. Odpowiedziałaś, że dobrze. Zatem, jeżeliś nie zrozumiała, co chciałaś przez to powiedzieć?

— Napisałam że dobrze, tylko nie bardzo już pamiętałam co „dobrze”. Ale widzę że ty się gniewasz, przykro mi... Żałuję, że poszła na *Fedrę*. Gdybym wiedziała, że z tego wynikną takie historie... dodała jak wszyscy ludzie którzy zawiniwszy w jednej rzeczy, udają iż myślą że im się wyrzuca inną.

— *Fedra* nie ma nic do roboty w moim gniewaniu się, skoro ja sam cię prosiłem, żebyś na nią poszła.

— Zatem masz do mnie żal; to bardzo przykre że już jest tak późno, inaczej przyszedłabym do ciebie, ale przyjdę jutro lub pojutrze aby się wytłumaczyć.

— Och, nie, Albertyno, proszę cię, skoroś mi zmarnowała wieczór, zostaw mnie przynajmniej w spokoju przez najbliższe dni. Nie będę wolny wcześniej aż za dwa lub trzy tygodnie. Słuchaj, jeżeli ci jest przykro zostawiać mnie pod tem wrażeniem — i w gruncie może masz słuszość — w takim razie wołę już, skoro noc jest stracona, skorom czekał do tej pory a ty jeszcze jesteś na mieście, abyś przyszła zaraz; napiję się kawy aby się rozbudzić.

— Czy nie dałoby się odłożyć tego do jutra? Doprawdy, trudno mi...

Słyszając te słowa, wyrzeczone tak jakby nie miała już przyjść, uczułem że z pragnieniem ujrzenia aksamitnej twarzy — już w Balbec kierującej wszystkie moje dni ku chwili, w której, na tle fiołkowego wrześnieowego morza znajdę się obok tego różowego kwiatu — sili się boleśnie złączyć jakiś bardzo odmienny czynnik. Już w Combray poznałem ową straszliwą potrzebę drugiej istoty; poznałem ją w stosunku do matki, tak że wręcz pragnąłem umrzeć w razie gdy mi mama powiedziała przez Franciszkę, że nie będzie mogła przyjść do mnie. Ów wysilek dawnego uczucia w tem aby się połączyć i stopić z drugim, świeższym, mającem za rozkoszny przedmiot jedynie barwną powierzchnię, różową karnację kwiatu plaży, ów wysilek kończy się często tem, iż stwarza (w sensie chemicznym) jedynie nowe ciało, zdolne trwać zaledwie kilka chwil. Tego wieczora przynajmniej, i na długo jeszcze, owe dwa elementy pozostały rozdzielone. Ale już przy ostatnich słowach przez telefon zacząłem rozumieć, że życie Albertyny leży (nie materialnie, oczywiście) w takiej odległości odemnie, iż trzeba mi wciążyć męczących wypraw, aby je osiągnąć; co więcej, że życie to zorganizowane jest niby fortyfikacje polowe, i to, dla większej pewności, z rodzaju tych, które później zaczęto nazywać maskowanemi.

Albertyna należała zresztą, na wyższym szczeblu towarzyskim, do tego gatunku istot, którym odzwiertna przyrzeka doręczyć twój list, skoro wrócą — aż do dnia, w którym się spostrzeżesz, że to właśnie ona, spotkana na ulicy osoba, do której odważyłeś się napisać, jest odzwiertną. Tak iż mieszka ona w istocie — ale w łóżce odzwiertnego — w domu który ci wskazała (który zresztą jest pokątnym domem schadzek, gdzie odzwiertna jest rajfurką) i podaje ci jako swój adres dom, gdzie znają ją jedynie wspólnicy, którzy nie wydadzą ci jej sekretu, skąd doręczą jej twoje listy, ale gdzie ona nie mieszka, gdzie conajwyżej złożyła jakieś rzeczy. Egzystencje rozmieszczone na pięciu czy sześciu linjach odwrotu, tak iż kiedy się chce widzieć tę kobietę, lub wiedzieć, zawsze trafia się zanadto na prawo lub na lewo, albo zawczasie lub zapóźno, i można przez miesiące, przez lata, nie wiedzieć nic. Co do Albertyny, czułem że się nie dowiem nigdy nic, że nigdy nie zdołam

się wyznać w poplątanej obfitości prawdziwych szczegółów i kłamliwych faktów. I że to będzie zawsze tak, chyba że ją zamknę w więzieniu (ale i stamtąd się ucieka), aż do końca. Tęgo wieczora, przekonanie owo przeszło mnie jedynie niepokojem, ale w niepokoju tym czułem jakgdyby drżenie przyszłych długich cierpień.

— Ale nie — odparłem; mówiłem ci już, że nie będę wolny wcześniej niż za trzy tygodnie, ani jutro, ani pojutrze...

— Dobrze, w takim razie... dobrze... wyciągam nogi i lecę... to trochę kłopotliwe, bo jestem u przyjaciółki, która...

Czułem, że Albertyna nie przypuszczała że ja przyjmę propozycję przyścia, zatem ta propozycja nie była szczerą; chciałem ją przycisnąć do muru.

— Co mnie obchodzi twoja przyjaciółka; przychodź albo nie przychodź, to twoja rzecz; to nie ja cię proszę żebyś przyszła, to ty mi to zaproponowałaś.

— Nie gniewaj się, wskakuję w fiakra i jestem za dziesięć minut.

Tak więc z owego Paryża, z którego nocnych głębokości już się wdarł do mojego pokoju, znacząc promień działania odległej istoty, głos który miał się wyłonić i zjawić po tem pierwszym zwiastowaniu, to była owa Albertyna, znana mi niegdyś pod niebem Balbec, kiedy garsonów z Grand-Hotelu, nakrywających do stołu, oślepił blask zachodu, kiedy szyby były całkiem rozsunięte, a z plaży, gdzie przechadzali się zapóźnieni przechodnie, płynęły swobodnie niedostrzegalne podmuchy wieczorne do ogromnej jadalni, kiedy goście jeszcze nie siedli do stołu i kiedy w lustrze za bufetem przesuwano się czerwone odbicie kadłuba ostatniego statku do Rivebelle i długo trwał szary refleks dymu.

Nie zastanawiałem się już, co mogło być przyczyną zapóźnienia się Albertyny, kiedy zaś Franciszka weszła do pokoju, mówiąc: „panna Albertyna przyszła”, jeżeli odpowiedziałem nie odwracając nawet głowy: „Jako, panna Albertyna przychodzi tak późno!” — była to jedynie komedia z mojej strony. Ale podnosząc wówczas oczy na Franciszkę, jakgdyby ciekaw jej odpowiedzi mającej wzmocnić pozorną szczerą moją pytania, spostrzegłem z podziwem i wściekłością, że Franciszka, zdolna rywalizować z samą Bermą w wymowie nieożywionych szat i rysów twarzy, zdołała wyuczyć swój stanik, swoje włosy (z których najbielsze wydobyła na wierzch, wystawiając je niby metrykę), szyję przygiętą zmęczeniem i posłuszeństwem. Ubolewały nad nią, że ją wyrwano ze snu i z ciepłego łóżka, w późną noc, w jej wieku, zmuszoną odziewać się na łap cap, ryzykując przeziębienie. Toteż, bojąc się że to wygląda tak jakbym się tłumaczył z późnego przyścia Albertyny, dodałem, dając upust głębokiej radości: „W każdym razie, bardzo się cieszę że przyszła, doskonale.”

Radość ta nie długo pozostała niezmacona, kiedym usłyszał odpowiedź Franciszki. Ta, nie wyrażając żadnej skargi, niby to powstrzymując nawet z całych sił nieodparty kaszel i obciążając szal jakby jej było zimno, zaczęła mi na wstępie opowiadać wszystko co powiedziała Albertynie, nie zapomniawszy spytać jej o ciotkę.

— Właśnie mówiłam, że panicz musiał się bać że ona już nie przyjdzie, bo to nie jest pora na wizyty, wnetki już będzie rano. Ale ona musiała być gdzieś, gdzie się dobrze bawiła, bo nawet nie powiedziała że jej przykro że dała paniczowi czekać; odrzekła tylko z miną taką że niby gwizdże na wszystko: „Lepiej późno niż nigdy”.

I Franciszka dodała te słowa, które mi przeszły serce:

— Mówiąc tak, sama się wydała. Byłaby może chciała się przytacić, ale...

Nie miałem czemu się tak bardzo dziwić. Wspomniałem, że Franciszka, kiedy się jej dawało jakieś zlecenie, rzadko zdawała sobie sprawę, jeżeli nie z tego co sama powiedziała (nad czym rozwodziła się chętnie), to z odpowiedzi, na którąśmy czekali. Ale, jeżeli wyjątkowo powtórzyła nam słowa (choćby najkrótsze) naszych przyjaciół, starała się naogół (bodaj akcentem, tonem, który, wedle zapewnień Franciszki, towarzyszył tym słowom) dać im coś uwłaczającego. W ostateczności, godziła się doznać w magazynie, gdzieśmy ją posłali, jakiejś „ubliży”, najprawdopodobniej zresztą urojonej, byleby, zwracając się do niej, naszej reprezentantki, przemawiającej w naszym imieniu, „ubliża” ta dosięgła rykoszetem nas samych. Pozostawało jedynie odpowiedzieć jej, że źle zrozumiała, że cierpi na manję prześladowczą i że wszyscy kupcy nie spiskują przeciwko niej. Zresztą uczucia ich mało mnie obchodziły. Inna rzecz uczucia Albertyny. I powtarzając te ironiczne słowa: „Lepiej późno niż nigdy!”, Franciszka nasunęła mi natychmiast obraz przyjaciół, w których towarzystwie Albertyna spędziła wieczór, czując się zatem z nimi lepiej niż

ze mną. „Kopyradło w płaskim kapelusidle przy jej wylupiastych oczach to śmiesznie wygląda, zwłaszcza z tym jej płaszczkiem, który powinna dać do cerowniczki, bo cały jest pogryziony. Śmiechu warte”, dodała, jakby drwiąc sobie z Albertyny, Franciszka, która rzadko dzieliła moje wrażenia, ale doznawała potrzeby objawiania mi swoich. Nie chciałem nawet okazać, że rozumiem iż ten śmiech oznacza wzgardę i szyderstwo; ale, aby oddać cios za cios, odparłem, mimo iż nie znałem wzmiankowanego kapelusza: „To, co Franciszka nazywa płaskie kapelusidło, to jest coś poprostu czarującego... — A ja myślę, że to czysty łach”, rzekła Franciszka, wyrażając tym razem szczerze swą prawdziwą wzgardę. Wówczas (łagodnie i dobitnie, iżby moja kłamiwa odpowiedź dawała wrażenie nie gniewu lecz prawdy), ale nie zwlekając, aby nie dać czekać Albertynie, zaaplikowałem Franciszce te okrutne słowa: „Franciszka jest przecańna kobieta — rzekłem z obleśną słodyczą — jest kochana, ma tysiąc przymiotów, ale została Franciszka w tym samym punkcie co kiedy przybyła do Paryża, zarówno w znawstwie spraw toaletowych, co w tem aby należycie wymawiać i nie przekręcać wyrazów”.

I ten docinek był szczególnie głupi, bo słowa francuskie z których należytego wymawiania jesteśmy tak dumni, nie są niczem innym jak „przekręcaniem”, dokonaniem przez usta gallijskie, fałszywie wymawiające łacinę i saksońskie, ile że nasz język jest tylko wadliwą formą wymawiania paru innych języków. Geniusz języka w stanie żywym, przyszłość i przeszłość francuzczyzny, oto co mnie powinno było interesować w błędach językowych Franciszki. „Cerowniczka” zamiast „cerowaczki” czyż to nie było równie ciekawe jak owe zwierzęta przetrwałe z odległych epok, jak wieloryb lub żyrafa, wskazujące nam etapy, jakie przebyło życie zwierzęce.

— I, dodałem, skoro od tylu lat nie umiała Franciszka niczego się nauczyć, już się Franciszka nie nauczy nigdy. Może się Franciszka pocieszyć, to jej nie przeszkodzi być bardzo zacną osobą, przyrządzać cudownie sztukamię w auszpiku, i tysiąc innych rzeczy. Kapelusz, który się Franciszce wydaje pospolity, skopiowany jest z kapelusza księżnej de Guermantes, który kosztował pięćset franków. Zresztą zamierzam niebawem ofiarować pannie Albertynie jeszcze piękniejszy.

Wiedziałem, że najbardziej może podrażnić Franciszkę myśl, że wydaję pieniądze dla osób, których ona nie lubi. Odpowiedziała kilka słów, które nagła zadyszka uczyniła mało zrozumiałymi. Kiedym się dowiedział później, że ona była chora na serce, jakież wyrzuty odczułem, że nigdy sobie nie odmówiłem okrutnej i jałowej przyjemności takiego replikowania jej. Franciszka nie cierpiała zresztą Albertyny, bo Albertyna, będąc biedną, nie mogła w niczem przydać mi blasku z którego Franciszka była dumna. Uśmiechała się życzliwie, ilekroć byłem proszony do pani de Villeparisis. Na odwrót oburzona była, że Albertyna się nie rewanżuje. Doszło do tego, że musiałem wymyślać dane mi rzekomo przez Albertynę podarki, w których istnienie zresztą Franciszka nie wierzyła nigdy ani odrobinę. Ten brak wzajemności raził ją zwłaszcza w zakresie spożywczym. To że Albertyna przyjmuje obiady mamy, kiedy nas nigdy nie proszą do pani Bontemps (przeważnie zresztą nieobecnej ile że jej mąż przyjmował „placówki”, jak niegdyś, kiedy miał dosyć ministerstwa), wydawało się jej ze strony mojej przyjaciółki niedelikatnością, którą Franciszka piętnowała pośrednio, powtarzając to popularne w Combray porzekadło: „Zjedzmy mój chleb. — Dawaj. — A teraz twój. — Jużem nie głodny”.

Udałem że mam coś do pisania. „Do kogo pieszysz? — rzekła Albertyna wchodząc. — Do mojej ładnej przyjaciółeczki, do Gilberty Swann. Nie znasz jej? — Nie”.

Nie spytałem Albertyny o nic w sprawie wieczoru; czułem, że robiłbym jej wymówki i nie mielibyśmy już czasu (zważywszy późną godzinę) pogodzić się na tyle, aby przejść do pocałunków i pieszczot. Od tego chciałem też natychmiast zacząć. Zresztą, mimo iż nieco spokojniejszy, nie czułem się szczęśliwy. Strata wszelkiej busoli, wszelkiego kierunku, charakteryzująca czekanie, trwa jeszcze po przybyciu oczekiwanej istoty: zajmując w nas miejsce spokoju, dzięki któremu tak cieszyliśmy się na jej przybycie, nie pozwala nam kosztować przyjemności. Albertyna była przy mnie, ale rozprężone nerwy, dalej pełne niepokoju, czekały na nią jeszcze.

— Pragnę dobrego pocałunku, Albertyno. — Ile tylko chcesz, rzekła z całą dobrocią. Nigdy nie wydała mi się równie ładna. — Jeszcze jeden? — Ależ wiesz, że to mi sprawia

wielką, wielką przyjemność. — A mnie tysiąc razy większą, odparła. Och, jaka ładna teczka! — Weź ją, daję ci ją na pamiątkę. — Milusi jesteście...

Wyleczylibyśmy się na zawsze z romantyzmu, gdybyśmy, myśląc o osobie którą kochamy, spróbowali stać się człowiekiem którym będziemy wówczas kiedy jej już nie będziemy kochali. Teczka, agatowa kulka Gilberty, wszystko to czerpało najoczywiściej niegdyś swoją wagę jedynie z czysto wewnętrznego stanu, skoro teraz była to dla mnie ot, jakaś tam teczka, jakaś tam kulka.

Spytałem Albertyny, czy chce się czegoś napić. „Zdaje mi się, że widzę pomarańcze i wodę, rzekła. To będzie pyszne”. W ten sposób mogłem kosztować, wraz z jej pocałunkami, owego chłodu, który, na raucie księżnej Marji, zdawał mi się pożądańszy od nich. I pomarańcza wyciśnięta do wody wydawała mi, w miarę jak piłem, tajemne życie swego dojrzewania, swój szczęśliwy wpływ na pewne stany ciała ludzkiego (mimo iż należącego do tak odmiennego królestwa), swoją niemoc w tem aby je odżywić, ale w zamian swoją wilgoć która mogła mu być zbawienna, sto tajemnic zdradzonych przez ten owoc mojej wrażliwości, bynajmniej zaś mojej inteligencji.

Kiedy Albertyna poszła, przypomniałem sobie, że przyrzekł Swannowi napisać do Gilberty; pomyślałem, że uprzejmie będzie zrobić to zaraz. Bez wzruszenia i jakby kreśląc ostatni wiersz na nudnym wypracowaniu, wypisałem na kopercie imię Gilberty Swann, którem pokrywałem niegdyś kajety, aby sobie stworzyć złudzenie że z nią koresponduje. Bo jeżeli niegdyś ja sam pisałem to imię, teraz trud ten przypadł, siłą przyzwyczajenia, jednemu z owych licznych sekretarzy, których przyzwyczajenie sobie przybiera. Ten mógł kreślić imię Gilberty tem swobodniej, ile że, pomieszczony świeżo u mnie przez przyzwyczajenie, świeżo wstąpiwszy w moje służby, nie znał Gilberty i wiedział tylko — stąd iż słyszał jak o niej mówiłem, przyczem dla niego słowa te nie miały żadnej realności — że to jest panna, w której byłem swego czasu zakochany.

Nie mogłem oskarżać tego sekretarza o oschłość. Istota, którą byłem teraz w stosunku do Gilberty, była „świadkiem”, zdolnym najlepiej zrozumieć czem była niegdyś ona sama: teczka, kulka agatowa, stały się prosto dla mnie wobec Albertyny tem, czem były niegdyś dla Gilberty, czem były dla wszelkiej istoty, nie oglądającej ich w blasku wewnętrznego płomienia. Ale teraz żyło we mnie nowe wzruszenie, zmieniające z kolei prawdziwą wartość rzeczy i słów. I kiedy Albertyna mówiła, aby mi jeszcze podziękować: „Ja tak lubię turkusy”, odpowiedziałem: „Nie daj im umrzeć” — powierzając niejako tym kamieniom przyszłość naszej przyjaźni, która przecież tak samo nie była zdolna tchnąć uczucia w Albertynę, jak nie była zdolna przechować uczuć, wiążących mnie niegdyś do Gilberty.

W owej epoce zdarzyło się zjawisko, zasługujące na wzmiankę jedynie dlatego, że się powtarza we wszystkich ważnych momentach historii. W chwili gdym pisał do Gilberty, p. de Guermantes, ledwie wróciwszy z reducy, jeszcze w swoim kasku, pomyślał, że nazajutrz będzie musiał wdziąć oficjalnie żałobę, i postanowił przyspieszyć o tydzień kurację u wód. Kiedy wrócił w trzy tygodnie później (uprzedzam wypadki, ponieważ w tej chwili ledwie skończyłem pisać do Gilberty), przyjaciele księcia, którzy widzieli niegdyś, jak, obojętny z początku, stał się z czasem zajadłym antydreyfusistą, oniemieli ze zdumienia, słysząc jak on — tak jakby kuracja podziałała mu nietylko na pęcherz — odpowiada: „No i cóż, odbędzie się rewizja procesu i Dreyfus będzie uwolniony; nie można skazywać człowieka, na którym nic nie ciąży. Czy widzieliście kiedy takiego ramola jak Forcheville? Oficer przygotowujący Francuzów do rzeźni, to znaczy do wojny. Dziwna epoka”.

Otóż w międzyczasie, książę Błazej poznał u wód trzy urocze damy (włoską księżną i jej dwie bratowe). Słyszcząc z ich ust kilka słów o książkach jakie czytały, o sztuce dawanej w kasynie, książę odgadł natychmiast, że ma do czynienia z kobietami wyższej inteligencji, wobec których, jak mówił, nie był na wysokości. Tem szczęśliwszy się czuł, kiedy go włoska księżna zaprosiła na bridża. Ale ledwie znalazł się u niej, kiedy, wśród rozmowy, w zapale swego niezmaconego antydreyfusizmu powiedział: „I cóż, już się nie słyszy o rewizji procesu tego słynnego Dreyfusa”, ku wielkiemu zdumieniu usłyszał, jak księżna i jej bratowe odrzekły: „Ależ nigdy nie było się jej tak blisko. Nie można trzymać w kaźni kogoś, kto nic nie popełnił. — A? A?” wybąkał zrazu książę, jakgdyby słysząc dziwaczny epitet, używany w jakimś domu dla ośmieszenia kogoś, kogo on miał do tej pory za inteligentnego człowieka. Ale tak jak, po kilku dniach, przez tchórzostwo i przez

ducha naśladownictwa, nie wiedząc czemu, krzyczy się: „Słuchaj, Koko”, na wielkiego artystę, którego wszyscy w tym domu tak nazywają, tak ksiązę, jeszcze zdziwiony nowym zwyczajem, odpowiedział jednak: „W istocie, jeżeli nie ma nic przeciw niemu”... Trzy urocze damy uważały, że ksiązę nie robi postępów dość szybko i poszturkiwały go trochę: „Ależ w gruncie żaden inteligentny człowiek nie mógł wierzyć, aby w tem coś było”. Za każdym razem, kiedy się zjawiał jakiś „miażdżący” fakt przeciw Dreyfusowi i kiedy ksiązę, myśląc że to nawróci trzy urocze damy, oznajmiał go im, śmiały się do rozpuku, poczem bez trudu, z wielką subtelnością djalektyki, wykazywały, że argument jest bez wartości i zupełnie śmieszny. Książę wrócił do Paryża jako zagorzały dreyfusista. I z pewnością nie twierdzimy, aby trzy urocze damy nie były, w danym wypadku, posłankami prawdy. Ale godne uwagi jest, że co dziesięć lat, kiedy się zostawiło kogoś głęboko o czemś przeświadczonym, zdarza się, że jakaś inteligentna para, lub nawet jedna urocza dama, zaprzyjaźnia się z nim i w kilka miesięcy doprowadza go do przeciwnych poglądów. I istnieje wiele krajów, zachowujących się w tej mierze tak jak ów szczerzy człowiek; wiele krajów, które ziały nienawiścią do jakiegoś narodu, a które, w pół roku później, zmieniły uczucia i zmieniły swoje sojusze.

Nie widziałem od jakiegoś czasu Albertyny, ale w dalszym ciągu, w braku pani de Guermantes, która nie przemawiała już do mojej wyobraźni, widywałem inne wróżki i ich mieszkania równie od nich nieodłączne, jak perłowa lub emaliowa skorupa, albo karbowana wieżyczka muszli nieodłączne są od mięczaka, który ją sporządził i który się w nią chroni. Nie umiałbym sklasyfikować tych dam, tak trudność problemu była nieznacząca, niemożliwa nietylko do rozwiązania, ale do postawienia. Aby ujrzeć damę trzeba było wstąpić w jej czarodziejski pałac. Otóż jedna przyjmowała w lecie zawsze po śniadaniu; jadąc do niej trzeba było podnieść budę, tak straszliwie prażyło słońce, którego pamięć — mimo iż sobie z tego nie zdawałem sprawy — miała się zespolić z ogólnym wrażeniem. Myślałem że jadę tylko na Cours-la-Reine; ale w rzeczywistości, zanim przybyłem na zebranie, z którego człowiek praktyczny możeby się wyśmiał, doznałem — niby w czasie podróży przez Włochy — olśnienia, rozkoszy, nierozdzielnej już w mojej pamięci z owym pałacem. Co więcej, z przyczyny upalnej pory i godziny, dama zamknęła hermetycznie okienice w obszernych prostokątnych salonach parterowych, gdzie przyjmowała. Ledwie mogłem zrazu poznać gospodynię i gości, nawet księżnę Oriane, która swoim chrapliwym głosem prosiła mnie abym usiadł obok niej w fotelu Beauvais, przedstawiającym porwanie Europy. Potem rozpoznawałem na ścianach gobeliny z XVIII wieku, przedstawiające okręty o masztach strojnych w malwy pod którymi znajdowałem się niby w pałacu nie Sekwany lecz Neptuna, nad brzegiem rzeki Oceanu, gdzie księżna Oriana stawiała się bóstwem wodnym. Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać wszystkie inne salony. Ten przykład wystarczy na dowód, że moje światowe sądy barwiły się poetyckimi wrażeniami, których nigdy nie brałem w rachubę w chwili ostatecznego podsumowania, tak iż, kiedym obliczał zalety jakiegoś salonu, rachunek mój nigdy nie był ścisły.

Niewątpliwie, te źródła błędu nie były zgoła jedyne; ale nie mam już czasu, przed wyjazdem do Balbec (gdzie, na swoje nieszczęście, wybiorę się na drugi — i ostatni — pobyt), rozpocząć obrazów „świata”, dla których miejsce znajdzie się znacznie później. Powiedzmy tylko, że do tej pierwszej fałszywej racji (życie dość rozprószone, pozwalające wnosić o mojej światowości) mego listu do Gilberty oraz powrotu do Swannów, który ów list zdawał się zwiastować, Odeta mogłaby dodać — równie nieściśle — drugą. Dotąd, aby sobie wyobrazić różne postacie, jakie świat przybiera dla danej osoby, przypuszczałem poprostu, że jakaś dama, która wprzód nie znała nikogo, zaczyna bywać wszędzie, lub że inna dama, która miała świetną pozycję, traci ją i zostaje osamotniona; w czym jesteśmy skłonni widzieć jedynie owe — czysto osobiste — zwyczaje i niżki, jakie, od czasu do czasu, powodują w danym towarzystwie, na skutek spekulacji giełdowych, głośną ruinę lub nieoczekiwane bogactwo. Otóż to nie jest tylko to. W pewnej mierze, zjawiska światowe — o wiele blabsze od ruchów artystycznych, przesilen politycznych, od ewolucji kierującej smak ogółu ku „teatrowi idei”, potem ku malarstwu impresjonistów, potem ku muzyce niemieckiej i skomplikowanej, potem ku muzyce rosyjskiej i prostej, lub ku poglądom społecznym, ku ideom sprawiedliwości, reakcji religijnej, przypływowi patryjotyzmu — są jednak ich dalekiem, mglistem, niepewnym, mętnem, zmiennym odbiciem. Tak iż nawet salonów nie da się odmalować w statycznej nieruchomości, wy-



starczającej dotąd dla analizy charakterów, które również nieodzownie trzeba wciągnąć w ruch quasi-historyczny. Pociąg do nowości skłania światowców pragnących się mniej lub więcej szczerze poinformować o ewolucji intelektualnej, do odwiedzania środowisk gdzie ją mogą śledzić; każe im upodobać sobie zazwyczaj jakąś panią domu, dotąd prawie nieznaną, przedstawiającą, można rzec w samym pączku, nadzieje intelektualne, tak zwiędłe i nieświeże u kobiet, oddawna dzierżących światowe berło i nie przemawiających już do wyobraźni ponieważ zna się ich silne i słabe strony. W ten sposób, każda epoka personifikuje się w nowych kobietach, w nowej grupie kobiet; ściśle związane z tem, co w danej chwili pobudza najnowsze zaciekawienia, zdają się one, w swojej tualecie, zjawiać dopiero w tej chwili, jako nieznanymi gatunek, zrodzony z ostatniego potopu — nieodparte piękności każdego nowego Konsulatu, każdego nowego Dyrektoriatu. Ale bardzo często, pani nowego domu jest poprostu — jak pewni mężowie Stanu, którzy pierwszy raz są ministrami, ale którzy od czterdziestu lat pukali daremnie do wszystkich drzwi — z liczby kobiet, nie znanych towarzystwu, ale mimo to przyjmujących, od bardzo dawna i w braku czego lepszego, paru „dobrych przyjaciół”. Zapewne, nie zawsze jest tak, i kiedy, wraz z zadziwiającym rozkwitem rosyjskiego baletu, objawiającym nagle Baksta, Niżyńskiego, Benoista, geniusz Strawieńskiego, księżna Jurbeletiew, młoda chrzestna mateczka wszystkich tych nowych wielkich ludzi, zjawiała się mając na głowie olbrzymią drżącą egretkę, nieznaną paryżankom i budzącą we wszystkich chęć naśladowania, można było przypuszczać, że tę cudowną istotę przywieźli w swoich niezliczonych bagażach, jako najcenniejszy skarb, rosyjscy tancerze; ale kiedy obok niej, w parterowej łoży przy scenie, ujrzymy na wszystkich przedstawieniach baletu, niby prawdziwą wróżkę, nieznaną do tego dnia arystokracji, panią Verdurin, światowcom gotowym z łatwością uwierzyć że pani Verdurin świeżo wylądowała wraz z trupą Diagilewa, będziemy mogli odpowiedzieć, że ta dama istniała już w odmiennych czasach i przechodziła liczne wcielenia. Obecne wcielenie różni się od poprzednich tylko tem, że jest pierwszym, które sprowadziło wreszcie tak długo i nadaremnie wyczekiwany przez „pryncypałkę” sukces, odtąd już zapewniony i posuwający się coraz to szybszym krokiem.

Co się tyczy pani Swann, nowość, jaką reprezentowała, nie miała coprawda tego zbiorowego charakteru. Salon jej skryształizował się dokoła jednego człowieka, dokoła umierającego, który, w chwili gdy jego talent się wyczerpywał, przeszedł niemal od razu z mroku do wielkiej sławy. Entuzjazm dla twórczości Bergotte'a był olbrzymi. Całe dni spędzał wystawiany na pokaz u pani Swann, która szeptała do jakiegoś wpływowego człowieka: „Pomówię z nim, napisze o panu artykuł”. Był zresztą zdolny napisać artykuł, a nawet jakąś jednoaktówkę dla pani Swann. Mimo iż bliższy śmierci, Bergotte miał się nieco mniej źle niż w epoce, gdy zachodził po wiadomości w czasie choroby mojej babki. Bo wielkie bóle fizyczne nałożyły mu djętę. Choroba jest najbardziej słuchanym z lekarzy: dobroci, wiedzy, przyrzekamy jedynie; posłuszni jesteśmy cierpieniu.

To pewna, że „paczka” Verdurinów miała obecnie nieporównanie większą żywotność, niż lekko nacjonalistyczny, bardziej jeszcze literacki, a przedewszystkiem *bergotyczny* salon pani Swann. „Paczka” była w istocie czynnym ogniskiem długiego politycznego wstrząsu, który obecnie osiągnął najwyższe nasilenie: dreyfusizmu. Ale ludzie światowi byli przeważnie tak bardzo antyrewizjonistami, że salon dreyfusistowski zdawał się czemś równie niemożliwym jak w innej epoce niemożliwy byłby salon komunardów. Księżna de Caprarola, która poznała panią Verdurin z okazji jakiejś organizowanej przez siebie wielkiej wystawy, złożyła jej długą wizytę, w nadziei skuszenia jakich interesujących elementów „małego klanu” i wcielenia ich do własnego salonu. Podczas tej wizyty, księżna (odgrywająca, na małą stopę, coś w rodzaju księżnej Oriany) wystąpiła przeciw utartym poglądom, oświadczyła że ludzie z jej sfery są idjoci, co się pani Verdurin wydało bardzo śmiało. Ale ta odwaga nie miała się posunąć aż do tego, aby, pod ogniem spojrzeń dam-nacjonalistek, ukłonić się pani Verdurin na wyścigach w Balbec.

Co się tyczy pani Swann, antydreyfusiści uznawali w niej przeciwnie to że jest „dobrze myśląca”, w czem, będąc żoną Żyda, miała podwójną zasługę. Niemniej, osoby które nigdy u niej nie były, wyobrażały sobie, że ona przyjmuje jedynie paru pokątnych izraelitów oraz uczniów Bergotte'a. W ten sposób pomieszcza się osoby, nieraz mające o ileż wyższe kwalifikacje od pani Swann, na najniższym szczeblu drabiny społecznej, czy to dla ich początków, czy że nie lubią obiadów proszonych i rautów gdzie nie widuje się ich nigdy,

tłumacząc to sobie fałszywie tem że nie były zaproszone; czy dlatego że nie mówią nigdy o swoich światowych stosunkach, ale wyłącznie o literaturze i o sztuce; czy dlatego, że ludzie kryją się z bywaniem u nich, lub że, aby nie robić niegrzeczności innym, one kryją się z tem że kogoś przyjmują; słowem dla tysiąca przyczyn, które z tej lub innej osoby czynią do reszty, w oczach niektórych, „kobietę której się nie przyjmuje”. Tak było z Odetą. Pani d’Epinoy, wybrawszy się do Odety aby ją naciągnąć na rzecz *Patrie française*, szła tam tak jakby miała zejść do swojej krawcowej. Przekonana iż zastanie tam jedynie twarze nawet nie pogardzane ale nieznanne, stanęła jak wryta, kiedy się otworzyły drzwi nie do salonu takiego jaki sobie wyobrażała, ale do czarodziejskiej sali, gdzie — niby w jakiejś feerji — w olśniewających statystkach porozkładanych po kozetkach, siedzących w fotelach, nazywających panią domu po imieniu, poznała altessy i diuszessy, które ona sama, księżna d’Epinoy, zaledwie z trudem mogła ściągnąć do siebie, i którym w tej chwili, pod życzliwym okiem Odety, margrabia de Lau, hrabia Louis de Turenne, książę Borghese, książę d’Estrées, znoszący oranżadę i ptifury, służyli za cześników i podczaszych. Ponieważ księżna d’Epinoy, nie zdając sobie z tego sprawy, utożsamiała wszelką istotę z jej wartością światową, zmuszona była odcieleścić panią Swann i przecieleścić ją w *kobietę elegancką*. Nieświadomość istotnego życia kobiet, nie reklamujących się w dziennikach, rozpościera na pewnych sytuacjach (przyczyniając się przez to do urozmaicenia salonów) zasłonę tajemnicy. Co się tyczy Odety, w początkach, paru mężczyzn z najwyższych sfer ciekawych Bergotte’a, bywało u niej na obiedzie w małym kółku. Miała ten świeżo nabyty takt aby się nimi nie popisywać; poprostu „mieli tam swoje nakrycie” — może przez wspomnienie „małego klanu”, którego tradycje zachowała Odeta od czasu swojej „schizmy”. Odeta zabierała ich na interesujące premiery z Bergottem, którego to zresztą dobijało. Panowie ci wspomnieli o Odecie paru kobietom ze swojego świata, zdolnym zainteresować się taką nowością. Przekonane były, że Odeta, przyjaciółka Bergotte’a, mniej lub więcej współpracowała w jego dziełach i uważali ją za tysiąc razy inteligentniejszą od najwybitniejszych kobiet z *faubourg*, z tej samej przyczyny, dla której pokładały wszystkie swoje nadzieje polityczne w pewnych republikanach dobrej marki, jak pp. Doumer i Deschanel, podczas gdy klęskę Francji widziały w personelu monarchistów, których zapraszały na obiady, takich jak Charette, Doudeauville etc.

Zmianie sytuacji Odety towarzyszyła z jej strony dyskrekcja, która czyniła tę zmianę pewniejszą i szybszą, ale nie pozwalała się wcale domyślać tego faktu osobom skłonnyim oceniać wzrost i upadek jakiegoś salonu na podstawie wzmianek w „Gaulois”. Tak iż na premierze sztuki Bergotte’a odegranej w najwytworniejszej sali na jakiś cel dobroczynny, istną sensacją stał się — w loży nawprost sceny, będącej lożą autora — widok pani Swann obok pani de Marsantes, oraz tej, która, wskutek stopniowego wycofywania się księżnej Oriany (sytej honorów i mniej zdolnej do wysiłku), była w trakcie stawania się lwicą, królową epoki — hrabiny Molé. „Podczas gdy myśmy się nawet nie domyślali, że się zaczyna wspinać — powiadano sobie o Odecie, w chwili gdy ujrano hrabinę Molé wchodzącą do jej loży — ona przebywała ostatni szczebel!”

Tak iż pani Swann mogła myśleć, że ja przez snobizm zbliżam się do jej córki.

Mimo obecności świetnych przyjaciółek. Odeta słuchała sztuki z nadzwyczajną uwagą, tak jakby jedynie po to przyszła, jak niegdyś spacerowała po Lasku dla higieny i dla ruchu. Mężczyźni, którzy niegdyś mniej jej nadskakiwali, zachodzili na balkon, niepokojąc wszystkich, cisnąc się do ręki Odety, aby się zbliżyć do imponującego kręgu, który ją otaczał. Ona, z uśmiechem jeszcze raczej uprzejmym niż ironicznym, odpowiadała cierpliwie na ich pytania, udając więcej spokoju niżby można było przypuszczać; i spokój jej był może szczerzy, ile że ta parada była jedynie publicznym uswięceniem codziennej i dyskretnie skrywanej zażyłości. Za temi trzema damami, skupiając wszystkie spojrzenia, znajdował się Bergotte, w otoczeniu księcia d’Agrigente, hrabiego Louis de Turenne i margrabiego de Bréauté. I łatwo pojąć, że dla ludzi którzy bywali wszędzie i którzy awansu mogli spodziewać się już tylko w wyszukaniach oryginalności, to stwierdzenie własnych walorów, jakiego w swoim mniemaniu dokonywali, przyjmując zaproszenia pani domu, mającej reputację wysokiego intelektualizmu, osoby u której spodziewali się spotkać wszystkich autorów dramatycznych i głośnych powieściopisarzy, była bardziej podniecająca i żywa, niż owe wieczory u księżnej Marji, które, bez żadnego programu i bez nowej atrakcji, następowały po sobie od tylu lat, mniej lub więcej podobne do te-

go, któryśmy opisali tak obszernie. W tym wielkim świecie, w świecie Guermantów, od którego ciekawość odwracała się potrosze, nowe mody intelektualne nie wcielały się w rozrywki będące ich obrazem, jak w owe bluetki Bergotte'a pisane dla pani Swann, lub owe prawdziwe posiedzenia *de salut public* (gdyby „świat” mógł się interesować sprawą Dreyfusa), na których u pani Verdurin zbierali się Picquart, Clémenceau, Zola, Reinach i Labori.

Gilberta również wzmacniała sytuację matki, bo pewien wuj Swanna zostawił pannie Swann blisko osiemdziesiąt milionów, co sprawiło że faubourg Saint-Germain zaczynało ją brać w rachubę. Odwrotną stroną medalu było, że Swann, zresztą umierający, był za Dreyfusem, ale i to nie zaszkodziło jego żonie, a nawet jej pomagało. Nie szkodziło, bo mówiono: „On jest ramol, idjota, nikt się nim nie interesuje; liczy się jedynie jego żona, a ta jest urocza”. Ale nawet dreyfusizm Swanna wychodził na dobre Odecie. Zdana na samą siebie, zaczęłyby może kobietom *szykownym* robić awanse, któreby ją zgubiły. Obecnie, kiedy Odeta wlekła męża na jakiś obiad i raut w faubourg Saint-Germain, Swann, siedząc chmurnie w kącie i widząc jak Odeta chce się przedstawić jakiejś damie-nacjonalistce, bez ceremonii mówił głośno: „Ależ Odeto, tyś chyba oszalała! Proszę cię, siedź spokojnie. To byłoby służalstwo z twojej strony przedstawiać się antysemitkom. Zabraniam ci.” Ludzie światowi, o których wszyscy się ubiegają, nie przywykli ani do takiej dumy, ani do tak złego wychowania. Pierwszy raz widzieli kogoś, kto się uważał za „coś więcej” od nich. Powtarzano sobie te wybuchy Swanna i bilety wizytowe sypały się jak deszcz do Odety. Kiedy Odeta zjawiła się z wizytą u pani d'Arpajon, wzbudziła żywy i sympatyczny odruch ciekawości. „Nie gniewacie się, że wam ją przedstawiłam? — mówiła pani d'Arpajon. Milutka jest. To Marja de Marsantes zapoznała mnie z nią. — Ależ nie, przeciwnie, zdaje się że ona jest niesłychanie inteligentna, urocza jest. Przeciwnie, chciałabym ją jeszcze kiedy spotkać, powiedz mi, gdzie mieszka”.

Pani d'Arpajon mówiła pani Swann, że się doskonale bawiła u niej przedwczoraj i z radością puściła dla niej kantem panią de Saint-Euverte. I to była prawda, bo „woleć panią Swann” stanowiło dowód, że się jest inteligentnym, coś tak jak iść na koncert zamiast na herbatkę. Ale kiedy pani de Saint-Euverte przyszła do pani d'Arpajon równocześnie z Odetą, ponieważ pani de Saint-Euverte była wielka snobka, a pani d'Arpajon, mimo iż traktując ją dość z góry liczyła się z jej recepcjami, pani d'Arpajon nie przedstawiała Odety, aby pani de Saint-Euverte nie dowiedziała się kto to taki.

Pani de Saint-Euverte wyobrażała sobie, że to musi być jakaś Wysokość, która bardzo mało się udziela, skoro ona jej nie spotkała; przeciągała tedy wizytę, odpowiadała pośrednio na to co Odeta mówiła, ale pani d'Arpajon była jak z kamienia. I kiedy pani de Saint-Euverte, zwyciężona, odeszła, pani domu mówiła do Odety:

— Nie przedstawiłam pani, bo ludzie nie bardzo lubią chodzić do niej, a ona forsownie zaprasza; nie byłaby się pani mogła wykręcić. — Och, nic nie szkodzi, powiadała Odeta z żalem. Ale zachowała pojęcie, że świat nie lubi chodzić do pani de Saint-Euverte, co było w pewnej mierze prawdą, i wnioskowała stąd, że ma sytuację o wiele wyższą od pani de Saint-Euverte, mimo że ta miała sytuację bardzo wielką, a Odeta jeszcze żadnej.

Nie zdawała sobie z tego sprawy i mimo iż wszystkie przyjaciółki pani de Guermantes żyły blisko z panią d'Arpajon, kiedy pani d'Arpajon zaprosiła panią Swann, Odeta czuła się w obowiązku usprawiedliwiać: „Idę do pani d'Arpajon, ale wydam się wam bardzo staroświecka, gdy powiem że mnie to raz i z powodu księżnej Oriany” (której nie znała zresztą).

Ludzie dystyngowani sądzili, że fakt iż pani Swann mało zna ludzi z wielkiego świata, wynika stąd, że musi być kobietą niezwykłą, prawdopodobnie wielką muzyczką, i że bywać u niej, to byłby rodzaj tytułu extra-światowego, jak np. dla księcia być doktorem filozofii. Kobiety zupełnie głupie przyciągała do Odety przeciwna racja; dowiadując się, że chodzi na *concert Colonne* i że jest zdeklarowaną wagnerjanką, wносиły stąd, że to musi być „puszczalska” i bardzo były podniecone myślą poznania jej. Ale nie czując się dość pewne siebie, bały się, że się skompromitują publicznie przyznając się do zażyłości z Odetą, i kiedy na koncercie dobroczynnym spostrzegły panią Swann, odwracały głowę, uważając za niepodobiestwo kłaniać się pod okiem pani de Rochechouart kobiecie, która zdolna była jechać do Bayreuth — to znaczy puszczać się na całego.

Każda osoba będąca z wizytą u innej stawała się inna. Pośród cudownych metamorfoz, jakie się spełniały — niby w świecie wróżek — w salonie pani Swann, p. de Bréauté, nagle podniesiony w cenie nieobecnością osób otaczających go zazwyczaj, z miną zadowoloną że się tam znajduje — tak jakby, zamiast iść na bal, włożył binokle aby siedzieć w domu i czytać „Revue des Deux-Mondes” — sam Bréauté przez tajemniczy obrzęd jakiego zdawał się dopełniać odwiedzając Odetę, wydawał się nowym człowiekiem. Wielebym dał, aby widzieć, jakim zmianom ulegałaby w tem nowym środowisku księżna de Montmorency-Luxembourg. Ale była to jedna z osób, którym nigdy nie możnaby przedstawić Odety. Pani de Montmorency, o wiele więcej mająca sympatji do Oriany niż Oriana do niej, powiadała ku memu wielkiemu zdziwieniu o Orianie: „Ona zna inteligentnych ludzi, wszyscy ją lubią, sądzą że gdyby miała trochę więcej wytrwałości, mogłaby sobie stworzyć salon. Ale jej na tem nie zależało, ma rację, czuje się dobrze jak jest, rozrywana przez wszystkich”. Otóż, jeżeli pani de Guermantes nie miała „salonu”, co to jest w takim razie „salon”?

Zdumienie, w jakie mnie wprawiły te słowa, było równe temu, jakie ja wzbudziłem w pani de Guermantes, mówiąc że lubię bywać u pani de Montmorency. Oriana uważała ją za starą kretynkę. „Ostatecznie — mówiła — ja muszę tam bywać, to moja ciotka, ale pan! Ona nie umie nawet ściągnąć przyjemnych ludzi”. Pani de Guermantes nie zdawała sobie sprawy, że przyjemni ludzie nie interesują mnie; że, kiedy ona mi mówi: *salon pani Arpajon* ja widzę żółtego motyla, a przy *salonie pani Swann* (pani Swann była u siebie w domu w zimie od 6 do 7) czarnego motyla o skrzydłach przysypanych śniegiem. Jeszcze ten ostatni salon-nie-salon księżna uważała — mimo że był niemożliwy dla niej — za usprawiedliwiony dla mnie z powodu „ludzi z talentem”. Ale pani de Luxembourg! Gdybym już był „stworzył” coś, coby zwróciło na mnie uwagę, Oriana orzekłaby, że trochę snobizmu może się kojarzyć z talentem. I pogłębiłem jeszcze zawód księżnej Oriany: przyznałem się jej, że chodzę do pani de Montmorency nie poto (jak sądziła) aby „zbierać wzorki” i „robić studja”. Pani de Guermantes popełniała zresztą ten sam błąd co światowi powieściopisarze, którzy bezlitośnie analizują z zewnątrz postęпки snoba lub człowieka uchodzącego za snoba, ale nie wchodzą nigdy w jego wnętrze, w epoce gdy w wyobraźni kwitnie cała wiosna towarzyska. Ja sam, kiedy sobie chciałem zdać sprawę z przyjemności, jakiej doznaję u pani de Montmorency, byłem nieco rozczarowany. Mieszkała w faubourg Saint-Germain, w starym domostwie o mnóstwie oficyn rozdzielonych małymi ogródkami. Pod sklepieniem, posążek (podobno Falconneta) wyobrażał źródło, skąd zresztą sączyła się ciągła wilgoć. Trochę dalej, odzwierciana, z oczami zawsze czerwonymi wskutek zmartwienia, neurastenji, migreny czy kataru — nie odpowiadała gościowi nigdy, ale robiła nieokreślony gest, wskazujący że księżna jest w domu, przy czem upuszczała z powiek kilka kropeł do wazonika niezapominajek. Przyjemność, jaką znajdowałem w oglądaniu statuetki, bo mi przypominała gipsowego ogrodniczka w ogrodzie w Combray, była niczem w porównaniu z przyjemnością, jaką mi sprawiały wielkie schody, ciemne i dźwięczne, pełne ech, jak schody niektórych dawnych zakładów kąpielowych, z wazonami pełnymi cyneraryj błękit na błękitcie — stojącymi w sieni; a zwłaszcza dźwięk dzwonka łudzaco podobny do dzwonka w pokoju Eulalji. Ten dźwięk dopełniał miary mego entuzjazmu, ale wydawał mi się zbyt skromny abym go mógł wytłumaczyć pani de Montmorency, tak iż ta dama widziała mnie zawsze w zachwycie, którego nigdy nie zgadła przyczyny.

#### Wahania serca

Mój drugi przyjazd do Balbec był bardzo odmienny od pierwszego. Dyrektor przybył osobiście aby mnie oczekiwać w Pont-a-Coulevre, powtarzając jak bardzo ceni swoją utytułowaną klientelę, co we mnie wzbudziło obawę, że on mnie uszlachcił, aż do chwili gdy zrozumiał, że w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały”<sup>99</sup>. Zresztą, w miarę jak dyrektor uczył się nowych języków, gorzej mówił dawniejszemi. Oznajmił, że mnie pomieścił na samym szczycie hotelu. „Mam nadzieję, rzekł, że pan nie dopatrzy się w tem manka grzeczności; przykro mi było dać panu pokój niegodny pana, ale uczyniłem to przez wzgląd na hałasy; w ten sposób nie będzie pan

<sup>99</sup>w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały” — *titré* zamiast *attitrée*. [przypis redakcyjny]

miał nikogo nad sobą, aby panu robił rumory. Niech pan będzie spokojny, każe zamknąć okna żeby nie trzaskały. Na tym punkcie jestem nieznośny (słowo to wyrażało nie jego myśl, którą było stwierdzenie, że na tym punkcie będzie zawsze *nieubłagany*, ale może myśl podwładnej mu służby).

Pokoje były zresztą te same co za pierwszym pobytom. Nie były niżej, ale ja wzniósłem się wyżej w szacunku dyrektora. Mogę kazać palić na kominku, jeżeli zapragnę (bo na rozkaz lekarzy, wyjechałem zaraz po Wielkiej Nocy), ale boi się, żeby nie było „rozpadlin” w suficie. „Zwłaszcza niech pan czeka z zapaleniem polana, aż poprzednie będzie skonsumowane. Bo najważniejsze jest, żeby nie zapuścić ognia w kominku, tem bardziej że, aby go trochę przystroić, kazałem na nim ustawić chiński wazon, który mógłby ulec destrukcji”.

Dyrektor powiadomił mnie ze smutkiem o śmierci dziekana z Cherbourg: „To był stary fryga” — rzekł (prawdopodobnie zamiast *wyga*); poczem dyrektor dał mi do zrozumienia, że koniec jego przyspieszyło życie *rozwlekle*, co znaczyło rozwiązało. „Już od jakiegoś czasu uważałem, że on po obiedzie spoczywa w objęciach Orfeusza (chciał powiedzieć: Morfeusza). W ostatnich czasach był tak zmieniony, że gdyby się nie wiedziało że to on, zaledwie można go było zdezyntyfikować (zapewne zamiast zidentyfikować)”.

Szczęśliwa kompensata: prezydent Sądu z Caen otrzymał „kokardę” komandora Legji honorowej. Nie ulega wątpliwości, że to zdolny człowiek, ale dano mu go z pewnością z powodu jego wielkiej legalności (lojalności?) Wspominano zresztą o tej dekoracji we wczorajszym „Echo de Paris”, w notatce z której dyrektor przeczytał dopiero pierwszy odstępek (zamiast ustępek). Polityka pana Caillaux wzięła tam tęgą pucówkę. „Uważam zresztą, że oni mają rację. Znadto nas chowają pod korcem niemieckim”. Ponieważ ten rodzaj tematów, traktowany przez hotelarza, nie zajmował mnie, przestałem słuchać. Myślałem o obrazach, które mnie znów ściągnęły do Balbec. Były bardzo różne od dawniejszych; wizja, jakiej szukałem obecnie, była równie promienna jak pierwsza była chmurna; i też miała mnie zawieść. Obrazy wybrane siłą wspomnień są tak samo dowolne, ciasne i nieuchwytnie jak te, które stworzyła wyobraźnia a zniweczyła rzeczywistość. Niema racji aby zewnątrz nas realne miejsce zawierało obrazy raczej pamięci niż marzenia. A potem, nowa rzeczywistość da nam może zapomnieć, nawet znienawidzić pragnienia, z których powodu podjęliśmy podróż.

Pragnienia, które kazały mi jechać do Balbec, wiązały się poczęści z tem, że państwo Verdurin (nigdy jeszcze nie skorzystałem z ich zaproszenia i z pewnością radzi ujrzeliby mnie u siebie, gdybym wpadł do nich na wieś przeprosić żem dotąd nie mógł złożyć im wizyty w Paryżu), wiedząc iż wielu wiernych spędza wakacje na tem wybrzeżu i wynajawszy z tego powodu na cały sezon jeden z zamków pana de Cambremer (La Raspeliere), zaprosili tam panią Putbus. Wieczorem, kiedy się o tem dowiedział (w Paryżu), wysłałem, jak istny warjat, naszego młodego lokajczyka, aby się wypytał, czy ta dama zabiera z sobą pannę służącą. Była jedenasta wieczór. Odźwierny długo nie otwierał i jakimś cudem nie wysłał w djably mego ambasadora, nie kazał wezwać policji, poprzestał na tem, że go przyjął bardzo źle, dostarczając mu zresztą upragnionej wiadomości. Oznajmił, że pierwsza panna służąca ma towarzyszyć pani najpierw do wód w Niemczech, potem do Biarritz, a wkońcu do pani Verdurin. Z tą chwilą uspokoiłem się, rad że mam coś „na wszelki wypadek”. Mogłem sobie oszczędzić pogoni na ulicach, gdzie, wobec spotkanych piękności, brak mi było owego listu rekomendacyjnego, jakim byłby wobec owej „Giorgione” fakt mojej bytności tegoż samego wieczora u państwa Verdurin, w towarzystwie jej pani. Zresztą, miałyby może o mnie jeszcze lepsze pojęcie, dowiadując się, że znam nietylko mieszczańskich lokatorów Raspeliere, ale jej właścicieli, a zwłaszcza Saint-Lo-up, który, nie mogąc mnie polecić na odległość pannie służącej (bo ta nie znała nazwiska Roberta), polecił mnie gorącym listem państwu de Cambremer. Myślał, że poza wszelką ich użytecznością dla mnie, pani de Cambremer młodsza, z domu Legrandin, interesowałaby mnie jako partnerka rozmowy. „To kobieta inteligentna, upewnił mnie. Nie powie ci rzeczy ostatecznych (rzeczy »ostateczne« zajęły miejsce rzeczy »boskich«; Robert odmieniał co kilka lat niektóre ze swoich ulubionych wyrażen, zachowując główne); ale to jest *ktoś*, ma osobowość, intuicję, umie znaleźć właściwe słowo. Od czasu do czasu jest denerwująca, papple głupstwa, aby »zadawać szyku« (rzecz tem komiczniejsza że niema

w świecie czegoś mniej sztywnego niż Cambremerowie); nie zawsze jest *na wysokości*; ale w sumie to jeszcze jedna ze znośniejszych znajomości”.

Otrzymał rekomendację Roberta, państwo de Cambremer, bądź przez snobizm, wskazujący im tę drogę pośredniej uprzejmości dla Roberta, bądź przez wdzięczność że był pocziwy dla ich bratanka w Doncieres, a najprawdopodobniej przez dobroć i przez tradycje gościnności, natychmiast wystosowali długie listy, prosząc abym zamieszkał u nich, gdybym zaś wołał być swobodniejszy, ofiarowując się znaleźć mi mieszkanie. Kiedy Saint-Loup doniósł im, że mam zamieszkać w Grand-Hotel de Balbec, odpowiedzieli, że oczekują mojej wizyty zaraz po przybyciu, gdybym się zaś ociągał, nie omieszkają mnie odszukać sami, aby mnie zaprosić na swoje *garden-party*.

Bezwątpienia, nic nie wiązało w sposób organiczny pokojówki pani Putbus z okolicą Balbec, nie byłaby ona tam dla mnie jak owa wieśniaczka, którą, idąc samotny drogą do Méséglise, wzywałem tak często nadaremnie, całą siłą swego pragnienia.

Ale oddawna już nie starałem się wyciągać z kobiety jakby pierwiastka jej Nieznanego, które często nie wytrzymywało próby zwykłej prezentacji. Przynajmniej w Balbec, gdzie nie był oddawna — w braku potrzebnego a nie istniejącego związku między okolicą a tą kobietą — miałbym tę korzyść, że przyzwyczajenie nie zniweczyłoby tam we mnie poczucia realności, jak to było w Paryżu, gdzie bądź we własnym domu, bądź w znanym mi pokoju, rozkosz zażywana z kobietą nie mogła mi pośród rzeczy codziennych dać ani na chwilę złudzenia, że mi otwiera wstęp do nowego życia. (Bo jeżeli przyzwyczajenie jest *drugą naturą*, nie pozwala nam ono poznać *pierwszej*, której nie posiada ani okrucieństw ani czarów). Otóż miałbym może to złudzenie w nowej miejscowości, gdzie odradza się wrażliwość wobec promienia słońca i gdzie mojej ekstazy dopełniłaby pokojówka której pragnąłem; ale okaże się, iż, zbiegiem okoliczności, owa kobieta nietylko nie przyjechała do Balbec, ale że przybycie jej byłoby mi w najwyższym stopniu niepożądane; tak iż tego głównego celu swojej podróży nie osiągnąłem, ani nawet nie próbowałem osiągnąć. Zapewne, pani Putbus nie miała tak rychło w ciągu sezonu przyjechać do Verdurinów; ale takie upragnione przyjemności mogą być dalekie, byleby ich nadejście było pewne, i byleby w ich oczekiwaniu można było do tego czasu abdykować z zalotności, oddać się leniwie niezdolności kochania. Zresztą, nie wybrałem się do Balbec w intencji równie praktycznej jak za pierwszym razem; zawsze jest mniej egoizmu w czystej wyobraźni niż we wspomnieniu; a wiedziałem, że się znajdę w miejscu, gdzie się roi od pięknych nieznanomych których plaża nastęcza nie mniej od sali balowej. Zgóry myślałem o spacerach przed hotelem, na didze, z tym samym odcieniem przyjemności, jakiegoby mi dostarczyła pani de Guermantes, gdyby, zamiast mi wyrabiać zaproszenia na świetne obiady, częściej podsuwała moje nazwisko w domach, gdzie się tańczyło. Zawierać kobiece znajomości w Balbec byłoby mi teraz równie łatwo, jak było mi trudno niegdyś, bo miałem teraz tyleż stosunków i punktów oparcia ile ich byłem pozbawiony za pierwszym razem.

Wyrwał mnie z mojego marzenia głos dyrektora, którego rozważań politycznych nie słuchałem. Zmieniając temat, wyraził mi radość prezydenta Sądu na wieść o moim przybyciu; i że sam prezydent przyjdzie mnie odwiedzić jeszcze tego wieczora. Myśl o tej wizycie przestraszyła mnie tak bardzo (bo zaczynałem się czuć zmęczony), że prosiłem dyrektora aby temu zapobiegł (co mi przyrzekł) i aby, dla większej pewności, tego pierwszego wieczora postawił na moim piętrze na warcie swój personel. Nie wydawało się, aby go kochał zbyt. „Cały dzień muszę uganiać za nimi, bo im brakuje inercji. Gdyby mnie tu nie było, nie ruszyliby się z miejsca. Postawię lift-boya na pieczy u pańskich wrót”. Spytałem, czy ów boy został wreszcie „starszym strzelcem”. „Jeszcze nie jest dość przedawniony w hotelu — odparł dyrektor. Są inni starsi od niego. Byłby krzyk. W każdej rzeczy trzeba grandacji. Uznaję, że on ma dobrą reprezentację w swojej windzie. Ale jest jeszcze trochę za młody na takie pozycje. Z innymi, którzy są starsi, toby był kontrakt. Trochę mu brak powagi, co jest prymitywną zaletą. (Chciał powiedzieć zasadniczą, najważniejszą). Trzeba, żeby miał trochę oleju w nogach (chciał powiedzieć w głowie). Zresztą, niech się tylko zda na mnie. Ja się znam na tem. Zanim zdobyłem ostrogi jako dyrektor Grand-Hotelu, skrzyżowałem pierwszy raz szpadę u pana Paillard”. To porównanie wzruszyło mnie; podziękowałem dyrektorowi, że przybył sam aż do Pont à Coulevre. „Och, nie ma za co. To mi zajęło czas minimalny” (zamiast minimalny). Zresztą, już się przybyli.

Wstrząs w całej mojej istocie. Pierwszej nocy, odczuwając chwilową niedomogę serca i starając się opanować swój stan, schyliłem się pomału i ostrożnie aby zdjąć trzewiki. Ale ledwiem dotknął pierwszego guzika, pierś moja wzdęła się, wypełniona jakąś nieznaną i boską obecnością; łkania wstrząsały mną, łzy popłynęły mi z oczu. Istotę, która przybywała mi na pomoc, która mnie ratowała od oschłości duszy, była ta, która, na wiele lat wprzód, w identycznej chwili samotności i rozpacz, w chwili gdy nie miał już nic z siebie, weszła i wróciła mnie samemu sobie, bo ona była mną i więcej niż mną (*zawierające*, które jest czemś więcej niż *zawarte*). Ujrzałem nagle w pamięci, ujrzałem pochyloną nad mojem zmęczeniem, tkliwą, stroskaną i zawiedzioną twarz babki, takiej jaką była owego pierwszego wieczora po naszym przybyciu; twarz babki nie tej, której, ku memu zdziwieniu i zgryzocie, żalowałem tak mało i która miała tylko jej imię, ale babki prawdziwej, której żywą realność odnajdywałem w mimowolnym i pełnym przypomnieniu, pierwszy raz od czasu Pól Elizejskich, gdzie dostała ataku. Ta realność nie istnieje dla nas, dopóki nie została odtworzona naszą myślą (inaczej ludzie, którzy brali udział w olbrzymiej bitwie, byłiby wszyscy wielkimi poetami epicznymi); tak więc, w szalonej żądzy rzucenia się jej w ramiona, dopiero w tej chwili, więcej niż w rok po jej pogrzebie, naskutek tego anachronizmu, który tak często nie pozwala kalendarzowi faktów schodzić się z kalendarzem uczuć — dowiedziałem się, że ona umarła. Często mówiłem o niej od tego czasu, a także myślałem o niej, ale pod temi słowami i myślami niewdzięcznego, samolubnego i okrutnego młodego człowieka, nie było nigdy nic, coby było podobne do babki, ponieważ w swojej lekkomyślności i w swojej żądzy zabaw, oswojony z jej chorobą, zachowałem jedynie w stanie potencjalnym wspomnienie tego czem ona była. Nasza całkowita dusza — w jakimś momencie byśmy ją zważali — posiada wartość niemal urojoną, mimo obfitego bilansu jej bogactw, bo to jedno to drugie z nich nie są płynne, czy chodzi zresztą o bogactwa rzeczywiste czy o bogactwa wyobraźni; dla mnie na przykład, tak samo bogactwa dawnego nazwiska Guermantes, jak o ileż poważniejsze bogactwa prawdziwego wspomnienia babki. Bo z zaćmieniami pamięci kojarzą się odplywy serca. Zapewne istnienie ciała, podobnego dla nas do naczynia, któreby zawierało naszą duchowość, nasuwa przypuszczenie, że wszystkie wewnętrzne dobra, minione radości, wszystkie bóle są ustawicznie w naszym posiadaniu. Może równie nieścisle jest wierzyć, że one się nam wymykają lub wracają. W każdym razie, jeżeli zostają w nas, to po największej części w nieznannej dziedzinie, gdzie się nam nie zdadzą na nic i gdzie nawet najpotrzebniejsze zepchnięte są przez wspomnienia innej kategorii, wykluczając w świadomości wszelką z niemi równoczesność. Ale jeżeli odnajdziemy ramę wrażeń, w której są przechowane, one znowuż mają moc wypędzenia wszystkiego, co się nie godzi z niemi, pomieszczenia w nas wyłącznie owego ja, które je przeżyło. Otóż, ponieważ to *ja*, którem się nagle stałem znowu, nie istniało od owego odległego wieczoru, kiedy mnie babka rozebrała po przybyciu do Balbec, tedy zupełnie naturalnie, nie po obecnym dniu którego to *ja* nie znało, ale — tak jakby istniały rozmaite i równoległe serje czasu — bez przerwy w ciągłości zaraz po owym dawnym pierwszym wieczorze stopiłem się z minutą, w której babka pochyliła się ku mnie. *Ja*, którem byłem wówczas i które znikło na tak długo, było znów tak blisko mnie, że mi się jeszcze zdawało iż słyszę poprzedzające bezpośrednio ów akt słowa, które przecież były już tylko snem; jak człowiek źle rozbudzony myśli, że słyszy tuż obok siebie odgłosy swego snu, który ucieka. Byłem już tylko tą istotą, która pragnęła się schronić w ramiona babki, wymazać ślady jej trosk obsypując ją pocałunkami; istotą, którą wyobrazić sobie wówczas kiedym był tą lub ową z osób przesuwających się we mnie od jakiegoś czasu, sprawiłoby mi tyleż trudności, ile teraz trzebaby mi wysiłków, jałowych zresztą, aby odczuć pragnienia i radości jednego z owych *ja*, którymi, na jakiś czas przynajmniej, już nie byłem. Przypomniałem sobie, jak — na godzinę przed chwilą gdy babka schyliła się tak w szlafroku ku moim trzewikom błędząc w ulicy dusznej od gorąca, przed cukiernią, myślałem, że nigdy, w mojej namiętnej potrzebie uściskania jej, nie zdołam doczekać godziny, którą mi trzeba jeszcze było spędzić bez niej. A teraz, kiedy ta sama potrzeba odradzała się, wiedziałem że mogłem czekać godziny po godzinach, że nigdy nie będzie jej już przy mnie, i dopiero odkrywałem ją, ponieważ, czując ją pierwszy raz, żywą, prawdziwą, rozsadzającą moje serce tak iż zdawało się że pęknie, odnajdując ją wreszcie, dowiedziałem się oto, że ją stracił na zawsze. Stracił na zawsze; nie mogłem zrozumieć tej sprzeczności i ćwiczyłem się w znoszeniu jej bólu: z jednej strony istnienie,

czułość, żyjące we mnie takie jak je znałem, to znaczy stworzone dla mnie; miłość, w której wszystko tak bardzo znajdowało we mnie swoje dopełnienie, swój cel, swoją busolę, że geniusz wielkich ludzi, wszystkie genjusze istniejące od początku świata nie byłyby warte w oczach babki jednej z moich wad; a z drugiej strony, skoro tylko przeżyłem na nowo, niby rzecz obecną, to szczęście, czuć je przeszyte pewnością — tryskającą jak potwarzający się fizyczny ból — pewnością nicości, która zatarła mój obraz w tym sercu, zniszczyła to istnienie, zniszczyła wstecz nasze wzajemne przeznaczenie, zrobiła z babki, w chwili gdy ją odnajdywałem niby w lustrze, poprostu obcą kobietę, której przypadek kazał spędzić kilka lat obok mnie, tak jakby mogła je spędzić obok każdego innego, ale dla której, przedtem i potem, byłem niczem i miałem być niczem.

Zamiast przyjemności zażywanych od jakiegoś czasu, jedyną którą byłoby mi możliwe odczuć w tej chwili, byłoby, poprawiając przeszłość, zmniejszyć cierpienia, jakich babka doznawała niegdyś. Otóż, przypominałem ją sobie nie tylko w tym szlafroku, stroju dostosowanym tak, że stawał się niemal ich symbolem, do utrudzeń, niezdrowych z pewnością, ale i słodkich, jakie ponosiła dla mnie; stopniowo oto przypominałem sobie wszystkie okazje, których nie przepuściłem, okazując jej swoje cierpienia, przesadzając je nieraz, sprawiając jej przykrości, które później — tak sobie wyobrażałem — zacierałem pocałunkami, jakgdyby czułość moja równie była zdolna uczynić ją szczęśliwą jak moje szczęście! I gorzej jeszcze: ja, który obecnie widziałem całe szczęście jedynie w tem, aby je móc odnaleźć rozlane w swoim wspomnieniu na płaszczyznach tej twarzy wyrzeźbionej czułością, wkładałem niegdyś obłądny szal w to aby się starać z niej wyrwać nawet najdrobniejsze przyjemności, na przykład w dniu gdy Saint-Loup fotografował babkę, kiedy, zaledwie zdolny ukryć jak mnie śmiechy jej dziecinna kokieterja — pozowanie w kapeluszu z wielkim rondem w twarzowym półświecie — pozwoliłem sobie mruknąć parę zniecierpliwionych i dotkliwych słów. I te słowa — czułem to po skurczu twarzy — osiągnęły swój cel, zraniły ją; i teraz mnie rozdzierały te słowa, teraz kiedy na zawsze stało się niepodobieństwem pocieszyć ją tysiącem pocałunków!

Ale nigdy nie zdołałbym już wymazać tego skurczu jej twarzy, ani tego cierpienia z jej serca, lub raczej z mojego; skoro bowiem umarli istnieją już tylko w nas, siebie samych uderzamy bez wytchnienia, kiedy się silimy przypominać sobie ciosy, któreśmy im zadali. Tych cierpień, bodaj najokrutniejszych, czepiałem się ze wszystkich sił, bo czułem, że one są skutkiem wspomnienia babki, dowodem że to wspomnienie żyje we mnie istotnie. Czułem że już ją sobie naprawdę przypominam jedynie przez bolesć, i byłbym pragnął, aby te gwoździe, które przybijały we mnie jej pamięć, utkwily jeszcze mocniej. Nie starałem się złagodzić ani upiększyć cierpienia, udawałem że babka jest tylko nieobecna i chwilowo niewidzialna, zwracając do jej fotografii (tej, którą zrobił Saint-Loup i którą miałem z sobą) słowa i modlitwy, jak do istoty rozłączonej z nami, która jednak, zachowawszy swą osobowość, zna nas i jest z nami związana nierozzerwalną harmonją. Nigdy tego nie uczyniłem, bo zależało mi nie tylko na tem aby cierpieć, ale aby szanować odrębność swego cierpienia, takiego jak je odczułem nagle i niechcący; i chciałem nadal je czuć, posłuszny jego własnemu prawom, ilekroć wracała ta tak dziwna sprzeczność krzyżujących się we mnie trwania i nicości. Wiedziałem zapewne nie to, czy z bolesnego a obecnie niezrozumiałego wrażenia wydobędę kiedyś trochę prawdy, ale wiedziałem że jeżeli tę trochę prawdy zdołam kiedy wydobyć, to jedynie z niego, z tego tak osobliwego, samorzutnego wrażenia, którego ani nie wykreśliła moja inteligencja, ani nie złagodziła małoduszność, ale którego podwójną i tajemniczą bruzdę wyżłobiła we mnie jak piorun, nadprzyrodzoną i nieludzką linią, sama śmierć, nagle objawienie śmierci. (Co się tyczy zapomnienia babki, w jakim żyłem dotąd, nie mogłem nawet myśleć o uczepieniu się go poto aby zeń wydobyć prawdę, skoro było ono jedynie negacją, omdleniem myśli nie zdolnem odtworzyć realnego momentu życia i zmuszonem zastąpić go konwencjonalnymi i obojętnymi obrazami.) Może jednak instynkt samozachowawczy, przemyślność inteligencji w tem aby nas chronić od bólu, zaczynały już, budując na dymiących jeszcze zgłiszczach, kłaść pierwsze podstawy swego użytecznego i złowrogiego dzieła; dzięki czemu zbytnio może kosztowałem słodczy przypomniania sobie jakichś myśli drogiej mi istoty, przypomniania ich sobie tak jakby je mogła jeszcze wyrażać, jakgdyby ona istniała, jakgdybym ja wciąż jeszcze istniał dla niej. Ale, z chwilą gdy zdołał zasnąć, w tej prawdopodobniejszej godzinie, gdy oczy moje zamknęły się dla zewnętrznych zjawisk, świat snu (na którego



progu inteligencja i wola, chwilowo porażone, nie mogły mnie już wydzierać okrucieństwu moich prawdziwych wrażeń) odbił, załamał, w ograniczonej i obecnie przeźroczyście głębi tajemniczo oświetlonych trzewi, bolesną syntezę trwania i nicości. Świat snu, gdzie nasza podświadomość, zależna od zaburzeń organów, przyspiesza rytm serca lub oddechu, ponieważ ta sama doza przestrachu, smutku, wyrzutu, wstrzyknięta tak w nasze żyły, staje się stokroć silniejsza; z chwilą gdy, aby przebiec arterje podziemnego miasta, płyniemy na czarnej fali własnej krwi jak po wewnętrznej Lecie o sześciokrotnych skrętach, zjawiają się nam wielkie uroczyste postacie, nawiedzają nas i opuszczają, zostawiając nas we łzach.

Napróżno szukałem twarzy babki z chwilą gdy wylądowałem pod ciemnym sklepieniem; wiedziałem przecie że ona jeszcze istnieje, ale życiem zwątlonem, bładem jak życie wspomnienia; ciemność rosła, i wiatr także; ojciec, który miał mnie zaprowadzić do niej, nie przybywał. Naraz zbrakło mi oddechu, uczułem serce jakby stwardniałe, tknęło mnie, żem od wielu tygodni zapomniał napisać do babki. Co ona musi myśleć o mnie? „Mój Boże, powiadałem sobie, jaka ona musi być nieszczęśliwa w pokoiku wynajętym dla niej, tak małym jak izdebka służącej, gdzie jest sama z pielęgniarką, nie mogąc się ruszyć, bo jest wciąż trochę sparaliżowana i nie chciała ani razu wstać. Musi myśleć, że zapominam o niej od czasu gdy umarła; jak ona musi się czuć sama i opuszczona! Och, muszę pobiec ją zobaczyć, nie mogę czekać ani minuty, nie mogę czekać aż ojciec przyjdzie; ale gdzie to jest, jak ja mogłem zapomnieć adresu; byle mnie jeszcze poznała! W jaki sposób mogłem zapomnieć o niej całe miesiące? Ciemno jest, nie znajdę, wiatr przeszkadza mi iść; ale oto ojciec spaceruje przedemną, krzyczę doń: „Gdzie jest babka, powiedz mi adres. Czy się ma dobrze? Czy to pewne, że jej na niczem nie zbywa? — Ależ nie, odrzekł ojciec, możesz być spokojny. Pielęgniarka to osoba pewna. Posyłamy od czasu do czasu małą sumkę, aby jej kupiono to trochę czego jej trzeba. Pyta czasem co się z tobą dzieje. Powiadano jej nawet, że masz pisać książkę. Zdaje się, że ją to ucieszyło. Otarła łzę”. Wówczas przypomniałem sobie (tak mi się zdawało), że w krótki czas po swojej śmierci, babka powiedziała mi szlochając z pokorną miną, jak stara służąca wypędzona, jak obca: „Pozwolisz mi jednak widywać się od czasu do czasu, nie zostaw mnie zbyt wiele lat bez swoich odwiedzin. Pomyśl, żeś ty był moim wnukiem i że babcie nie zapominają”. Widząc znów tę jej twarz tak pokorną, tak nieszczęśliwą, tak słodką, chciałem biec natychmiast i powiedzieć to, com był powinien odrzec wówczas: „Ależ babciu, będziesz mnie widziała ile zechcesz, mam tylko ciebie na świecie, nie opuszczę cię już nigdy.” Ileż łez musiało ją kosztować moje milczenie, od tylu miesięcy przez które nie byłem tam gdzie ona leży; co ona musiała sobie mówić? I szlochając również, rzekłem do ojca: „Prędko, prędko, jej adres, zaprowadź mnie.” Ale ojciec odparł: „Słuchaj... ja nie wiem, czy ty będziesz mógł ją widzieć. A przytem, wiesz, ona jest bardzo słaba, bardzo słaba, to nie jest już ona, boję się że toby ci było raczej przykre. I nie przypominam sobie dokładnego numeru alei. — Ale powiedz mi, ty który wiesz; to nieprawda, że umarli już nie żyją? To z pewnością nieprawda, mimo wszystko co mówią, skoro babka jeszcze istnieje”. Ojciec uśmiechnął się smutno: „Och, bardzo mało, wiesz, bardzo mało. Sądzę, iż lepiej będzie, żebyś tam nie szedł. Nie brakuje jej nic. Wszystko zarządzono. — Ale jest często sama? — Tak, ale to lepiej dla niej. Lepiej żeby nie myślała, toby jej mogło zrobić tylko przykrość. Często przykro jest myśleć. Zresztą wiesz, ona jest bardzo wyczerpana. Zostawię ci ściśle wskazówki, abyś mógł do niej iść, ale nie widzę co byś ty tam mógł zrobić i nie sądzę aby cię pielęgniarka puściła. — Wiesz przecie, że ja będę zawsze żył przy niej, jelenie, jelenie, Francis Jammes, widelec”. Ale już przebyłem z powrotem rzekę o mrocznych skrętach, wypłynąłem na powierzchnię gdzie się otwiera świat żywych, toteż jeżeli powtarzałem jeszcze „Francis Jammes, jelenie, jelenie”, dalszy ciąg tych słów nie przedstawiał dla mnie jasnego sensu i logiki, którem znajdowałem w nich tak naturalnie jeszcze przed chwilą, a których nie mogłem już sobie przypomnieć. Nie rozumiałem już nawet czemu słowo „Ajax”, które wyrzekł przed chwilą ojciec, znaczyło zaraz potem, bez najmniejszej wątpliwości: „Uważaj, żebyś się nie zaziębił”. Zapomniałem zamknąć okienice i z pewnością jasny dzień mnie obudził. Ale nie mogłem znieść tego żem miał przed oczami te fale, na które babka mogła niegdyś patrzeć całe godziny; nowy obraz ich obojętnej piękności dopełniał się natychmiast myślą że ona ich nie widzi; byłbym chciał

zatkąć uszy na ich szum, bo teraz promienna pełnia plaży drążyła pustkę w moim sercu; wszystko mówiło mi: „Nie widzieliśmy jej”, jak owe aleje i trawniki publicznego ogrodu, gdzie ją raz niegdyś zgubiłem, kiedy byłem całkiem mały; pod kopułą bladego i boskiego nieba dławilem się niby pod olbrzymim sinym kloszem, zamykającym horyzont, gdzie babki nie było. Aby już nic nie widzieć, obróciłem się do ściany, ale niestety, nawprost siebie miałem owo przepierzenie, które służyło nam niegdyś za rannego posła, tę ściankę oddającą posłusznie jak skrzypce wszystkie odcienie uczucia, wiernie opowiadającą babce moją obawę obudzenia jej i — jeżeli się już obudziła — obawę że mnie nie słyszała i że się nie śmie poruszyć; i natychmiast potem, niby odzew drugiego instrumentu, oznajmiającą mi jej przybycie i wróżącą spokój. Nie śmiałem się zbliżyć do tej ściany, bardziej niż do fortepianu, na którymby babka grała i który drgałby jeszcze od jej dotknięcia. Wiedziałem, że mógłbym pukać teraz, nawet silniej, że nic nie mogłoby jej już obudzić, że nie usłyszałbym żadnej odpowiedzi, że babka jużby nie przyszła. I nie prosiłem o nic więcej Boga, jeżeli istnieje niebo, jak o to, aby móc zapukać trzy razy w tę ścianę trzema lekkimi uderzeniami, które babka poznałaby wśród tysiąca i na które odpowiedziałyby również trzema, mówiącami: „Nie niepokój się, mała myszko, rozumiem że się niecierpliwisz, ale ja przyjdę”, i żebym mógł tam z nią zostać całą wieczność, która nie byłaby zbyt długa dla nas dwojga.

Dyrektor przyszedł spytać, czy nie zechcę zejść. Na wszelki wypadek, czuwał nad moją „lokata” w jadalnej sali. Nie widząc mnie, zląkł się, czym nie miał ataku dawnych duszności. Miał nadzieję, że to jest tylko mała „angina gardła” i upewnił mnie, iż słyszał, że ustępuje od tego co on nazywał „kaliptus”.

Oddał mi list od Albertyny. Nie miała przyjechać tego roku do Balbec, ale zmieniawszy projekty, jest od trzech dni nie w samym Balbec, lecz w sąsiedniej miejscowości, o dziesięć minut tramwajem. Bojąc się, że jestem zmęczony podróżą, nie zjawiała się pierwszego wieczora, ale pyta kiedy ją będę mógł przyjąć. Wypytałem się, czy zachodziła sama; nie poto aby ją zobaczyć, ale aby się urządzać tak żeby jej nie widzieć. „Ależ bezwzględnie, odpowiedział dyrektor. Pani chciała móc pana widzieć jaknajprędzej, chyba że pan ma jakieś racje absolutnie negacyjne. Widzi pan (zakończył dyrektor), że wszyscy tutaj pragną pana, definitywnie”. Ale ja nie chciałem widzieć nikogo.

A jednak, poprzedniego dnia, tuż po przybyciu, czułem że mną owłada leniwy czar życia kąpielowego. Ten sam „lift”, milczący tym razem z szacunku nie ze wzgardy, czerwony z radości, wprawił w ruch windę. Wznosząc się wzdłuż pionowego słupa, przebyłem znów to, co było niegdyś dla mnie tajemnicą nieznanego hotelu, gdzie, kiedy się przybywa jako turysta bez protekcji i znaczenia, każdy gość wracający do swego pokoju, każda panienska schodząca na obiad, każda pokojówka mijająca te dziwacznie kręte korytarze, i młoda Amerykanka schodząca na obiad z damą do towarzystwa, obrzucają cię spojrzaniem, w którym nie wyczytasz nic z tego czegośbyś pragnął. Tym razem, przeciwnie, odczuwałem leniwą przyjemność jechania windą w hotelu znanym, gdzie się czułem u siebie, gdzie dokonałem jeden raz więcej owej wciąż na nowo koniecznej operacji, dłuższej i trudniejszej niż wywrócenie powieki, a polegającej na tem, aby dać przedmiotom duszę nam bliską, w miejsce ich własnej duszy, która nas przerażała. Czyż miałbym teraz — powiadałem sobie, nie podejrzewając naglej odmiany duszy, która mnie czekała — tulać się wciąż po nowych hotelach, gdzie bym jadł obiad pierwszy raz, gdzie przyzwyczajenie nie zabiłoby jeszcze na każdym piętrze, przed każdymi drzwiami, straszliwego smoka czuwającego nad zaczarowaniem istnieniem; gdzie musiałbym się zbliżyć do owych nieznanych kobiet, skupiających się w palace-hotelach, kasynach, na plażach, i żyjących społeczeństwem rozległych kolonji polipów.

Znajdowałem przyjemność nawet w tem, że nudnemu prezydentowi sądu tak pilno było mnie oglądać; wiedziałem od pierwszego dnia łańcuchy modrych gór morza, jego lodowce i kaskady, jego wspaniałość i niedbały majestat — już przy myciu rąk, od samego wdechania — pierwszy raz od tak dawna — specjalnego zapachu zbyt perfumowanych mydeł Grand-Hotelu: zapach ten, należący równocześnie do chwili obecnej i do poprzedniego pobytu, bujał między niemi niby rzeczywisty czar swoistego życia, w którym wraca się do domu jedynie poto aby zmienić krawat. Prześcieradła na łóżku, za cienie, za lekkie, za szerokie, niepodobne do podwinięcia i do utrzymania, wzdymające się dokoła kołder w ruchomych zwojach, zasmuciłyby mnie niegdyś. Kołysały jedynie, na niewygod-

nej i wzdętej krągłości swoich żagli, wspaniałe i pełne nadziei słońce pierwszego ranka. Ale ów ranek nie miał czasu się zjawić. Okrutna i boska obecność zmartwychwstała tej nocy.

Prosiłem dyrektora, żeby odszedł i zabronił komukolwiek wchodzić. Powiedziałem mu, że zostanę w łóżku, odrzucając równocześnie jego propozycję posłania do apteki po znakomity środek. Uszczęśliwiony był z mojej odmowy, bo bał się, aby goście nie odczuli przykro zapachu „kaliptusa”. Zjednało mi to jego komplement:

„Bardzo ma pan racjonalny punkt wytyczny” (zamiast punkt widzenia), oraz to zalecenie: „niech pan uważa, żeby się pan nie powalał o drzwi, bo poleciłem zamki rozpuścić oliwą, a gdyby funkcjonariusz pozwolił sobie zapukać do pana, dostanie smarowanie (zapewne wcieranie). I niech się pilnują, bo ja nie lubię powtórności (zapewne powtarzania dwa razy tego samego). Ale czy pan nie życzy sobie, żebym panu kazał podać trochę starego wina którego mam na dole antolek? Nie przyniosę go panu na srebrnej tacy jak głowy Jonatana i uprzedzam pana, że to nie jest Château-Laffite, ale coś mniej więcej alogicznego (chciał powiedzieć analogicznego). A możeby panu usmażyć małą solę, coś lekkiego?”

Odmówiłem wszystkiego, ale uderzyło mnie, że dyrektor — człowiek który tyle się musiał napodawać tej ryby! — wymawia jej nazwę (*la sole*) jak *saule*, wierzba.

Mimo obietnic dyrektora, przyniesiono mi nieco później zagięty bilet wizytowy margrabiny de Cambremer. Przybywszy aby mnie odwiedzić, stara dama kazała spytać czy jestem w domu, a kiedy się dowiedziała żem przyjechał dopiero wczoraj i że jestem cierpiący, nie należała. Zatrzymawszy się z pewnością przed apteką lub przed sklepikiem, dokąd lokaj, zeskakując z kozła, wchodził, płacił jakiś rachunek lub czynił zakupy, margrabina odjechała do Féterne w swojej starej landarze zaprzężonej w parę koni. Dość często zresztą słyszano jej turkot i podziwiano ten ceremonjał na uliczkach Balbec oraz w paru innych nadbrzeżnych miejscowościach między Balbec a Féterne. Nie aby postoje przed sklepami były celem owych wypraw. Celem był jakiś podwieczorek, garden-party w sąsiednim dworze lub mieszczańskim domu — bardzo niegodnych margrabiny. Ale ta, mimo że nieskończenie przerastając urodzeniem i majątkiem miejscową drobną szlachtę, tak bardzo, w swojej doskonałej dobroci i prostocie, obawiała się sprawić komuś zawód, że spieszyła na najmizerniejsze zebranie w okolicy. Z pewnością, zamiast robić tyle drogi, poto aby słuchać w dusznym saloniku śpiewaczki przeważnie bez talentu, którą, jako wielka dama i renomowana artystka, musiała przesadnie komplementować, margrabina wolałaby przejechać się poprostu na spacer lub siedzieć w Féterne w swoim cudownym ogrodzie, u którego stóp zamierała wśród kwiatów senna fala zatoki. Ale wiedziała, że pan domu — ziemianin czy obywatel z Maineville-la-Teinturière lub z Chattoncourt-l'Orgueilleux zapowiedział gościom jej obecność. Otóż, gdyby pani de Cambremer wyjechała tego dnia na spacer nie pokazując się na tej fecie, groziło to że któryś z gości przybyły z jednej z nadmorskich plaż mógł usłyszeć i zobaczyć powóz margrabiny, co by jej odjęło wymówkę, że musiała tego dnia zostać w domu. Wprawdzie gospodarze domu widywali często panią de Cambremer na koncertach u ludzi, nie będących (ich zdaniem) właściwym dla niej towarzystwem; ale nieznaczna wynikała stąd w ich oczach obniżka sytuacji nazbyt łaskawej margrabiny, znikła natychmiast, kiedy chodziło o nich samych. Gorączkowo zadawali sobie pytanie, czy dama ta zjawi się na ich „podwieczorku”. Co za ulga w odczuwanym od kilku dni niepokoju, jeżeli, po pierwszym kawałku odśpiewanym przez pannę domu lub przez jakiegoś letnika-amatora, któryś gość oznajmił (niechybny znak, że margrabina przybędzie!), że widział konie sławnego powozu, stojące przed zegarmistrzem lub przed drogerją. Wówczas, pani de Cambremer (która w istocie nie omieszkała się zjawić w towarzystwie synowej oraz gości bawiących u niej w tej chwili, poprosiwszy wprzód dla nich o zaproszenie, udzielone z jakąż radością!) odzyskiwała cały swój blask w oczach gospodarstwa, dla których nagroda jej spodziewanego przybycia była może ostateczną a tajemną przyczyną decyzji, jaką powzięli przed miesiącem, aby podjąć kłopoty i koszty tego zebrania. Widząc margrabinę na swoim podwieczorku, przypominali sobie już nie łaskawość, z jaką bywała również u mniej godnych sąsiadów, ale dawność jej rodu, wspaniałość zamku, pychę jej synowej, z domu Legrandin, która swoją arogancją uwydatniała mdlą nieco dobroduszną teściową. Już mieli uczucie, że w „kronice światowej” „Gaulois” czytają notatkę, którą, zamknawszy wszystkie drzwi

na klucz, sami wysmażą w rodzinie, o „zakątku Bretanii kipiącym zabawą, o *ultra select* podwieczorku, po którym zachwyceni goście, zanim opuścili gościnne progi, uprosili miłych gospodarstwa o rychłe *bis*”. Codziennie oczekiwali gazety, niespokojni że jeszcze w niej nie widzą swego podwieczorku i że posiadali może panią de Cambremer jedynie dla swoich gości, a nie dla rzeszy czytelników. Wreszcie nadchodził błogosławiony dzień: „Obecny sezon w Balbec jest wyjątkowo świetny. Jest moda na prośzone popołudniowe koncerty etc.” Bogu dzięki, nazwisko pani de Cambremer wolne było od błędów ortograficznych i „wymienione wśród innych” ale na pierwszym miejscu. Poczem wyrzekali na niedyskrecję dzienników, zdolną spowodować pretensje osób, których nie można było zaprosić, oraz pytali się obłudnie przy pani de Cambremer, kto mógł mieć tę perfidję, aby posłać to „echo”, o którym margrabina, życzliwym tonem wielkiej damy, mówiła: „Rozumiem, że to państwa drażni, ale co do mnie, mogę być jedynie szczęśliwa, że się dowiedziano o mojej obecności u drogich państwa”.

Na bilecie, który mi wręczono, pani de Cambremer skreśliła wiadomość że wyprawia „podwieczorek” pojutrze. I z pewnością jeszcze dwa dni temu, mimo iż byłem dość zmęczony życiem światowem, byłoby dla mnie prawdziwą przyjemnością kosztować go dla odmiany w tych ogrodach, gdzie, dzięki położeniu Féterne, rosły na wolności figi, palmy, krzaki róż, aż do samego morza, nieraz śródziemnomorsko spokojnego i błękitnego, po którym mały jacht właścicieli wędrował przed rozpoczęciem się fety, aby z drugiej strony zatoki zbierać po plażach znaczniejszych gości. Kiedy wszyscy już przybyli, jacht, chroniąc ich aksamitnymi zasłonami od słońca, służył za salę jadalną, wieczorem zaś odwoził z powrotem tych których przywiózł. Był to zbytek uroczy, ale tak kosztowny, że po części dlatego aby mu sprostać, pani de Cambremer starała się na rozmaity sposób pomnożyć dochody, między innymi wynajmując — pierwszy raz — jedną ze swoich posiadłości, bardzo odmienną od Féterne: la Raspelière.

Tak, dwa dni wcześniej, taki poranek gromadzący nieznaną mi prowincjonalną szlachtę, w nowej ramie, jakimż byłby dla mnie urozmaiceniem po „wielkim świecie” paryskim. Ale teraz, przyjemności nie miały już dla mnie żadnego sensu. Napisałem tedy do pani de Cambremer z przeproszeniem, podobnie jak godzinę wprzód kazałem odprawić Albertynę: zgryzota zniweczyła we mnie tak kompletnie możność pragnienia czegoś, jak silna gorączka odbiera apetyt...

Matka miała przybyć nazajutrz. Zdawało mi się, że mniej jestem niegodny żyć obok niej, że rozumiałbym ją lepiej teraz, kiedy wszelkie obce i małe życie ustąpiło miejsca przypływowi rozdzierających wspomnień, które opasywały i uszlachetniały moją i jej duszę swoją cierniową koroną. Tak sądziłem; ale w rzeczywistości, od prawdziwych zgryzot, jak zgryzota mamy, które odbierają człowiekowi dosłownie życie na długi czas, czasami na zawsze, z chwilą gdy się straciło ukochaną istotę, daleko jest do owych zmartwień mimo wszystko przejściowych, jak miało być moje, zmartwień które odchodzą szybko jak przyszły późno, których doznaje się aż w długi czas po wypadku, bo trzeba je było zrozumieć aby je odczuć; zmartwień, których tylu ludzi doznaje, a od których to co mnie dręczyło obecnie, różniło się jedynie ową tonacją mimowolnego wspomnienia.

Co się tyczy zgryzoty równie głębokiej jak matczyna, miałem ją poznać kiedyś — okaże się to w dalszym ciągu opowiadania — ale nie teraz, ani nie tak jak sobie wyobrażałem. Mimo to, jak aktor, który powinien znać swoją rolę i być od dawna na swoim miejscu, ale który przybył dopiero w ostatniej sekundzie i przeczytał ledwie raz swój tekst, umie, kiedy przyszedł moment jego „kwestji”, udawać natyle zręcznie aby nikt nie spostrzegł jego spóźnienia, moje całkiem świeże zmartwienie pozwoliło mi — kiedy matka przybyła — mówić do niej tak, jakgdybym zawsze je odczuwał. Myślała poprostu, że obudził je widok miejsc, oglądanych niegdyś z babką (a to przecież nie było to). Pierwszy raz wówczas — i dlatego że czułem ból, który był niczem w porównaniu z jej boleścią, ale który mi otwierał oczy — uświadomiłem sobie z przerażeniem, co ona mogła cierpieć. Pierwszy raz zrozumiałem, że to martwe spojrzenie bez łez (co sprawiało, że Franciszka niezbyt współczuła z mamą) właściwe jej od śmierci babki, zatrzymało się na tej niepojętej sprzeczności wspomnienia i nicości. Pozatem, kiedy ją ujrzałem, zawsze w krepach, ale strojnieszą w tem nowem miejscu, bardziej uderzyło mnie zaszłe w niej przeobrażenie. Nie dość powiedzieć, że straciła wszelką wesołość; stopiona, stężała w jakiś błagalny obraz, robiła wrażenie jakby się bała żywszym ruchem lub głosem urazić

bolesną obecność, nie opuszczając jej ani na chwilę. Ale zwłaszcza z chwilą gdy ją ujrzałem wchodzącą w krepach, spostrzegłem — co uszło mojej uwagi w Paryżu — że to już nie matkę miałem przed sobą, ale babkę. Jak w królewskich i książęcych rodzinach, ze śmiercią naczelnika rodu syn przybiera jego tytuł i z księcia Orleanu, księcia Tarentu lub księcia des Laumes staje się królem Francji, diukiem de la Trémoille, diukiem de Guermantes, tak często, w drodze innego rodzaju intronizacji, pochodzącej z głębszego źródła, umarły chwytą żywego, który staje się podobnym doń następcą, dalszym ciągiem jego przerwanej życia. Może wielkie zmartwienie, towarzyszące, u córki takiej jak mama, śmierci matki, wcześniej tylko kruszy powłokę poczwardki, przyspiesza metamorfozę, która bez tego przesilenia, mijającego etapy i przeskakującego nagle całe okresy, spełniłaby się jedynie wolniej. Może w żalu po osobie której już niema, kryje się jakaś sugestia, dająca naszym rysom podobieństwo, które istniało już w stanie utajonym, a zwłaszcza zachodzi zawieszenie naszej aktywności bardziej indywidualnej (u matki jej rozsądek, jej żartobliwa wesołość, odziedziczone po ojcu), którym, dopóki żyła ukochana istota, nie obawialiśmy się, bodaj jej kosztem, dawać upustu, a które przeciwwały cechy, jakie mieliśmy wyłącznie z niej. Skoro raz ta istota umarła, mielibyśmy skrupuł być innym; podziwiamy już tylko to czem ona była, czem my sami byliśmy już — ale z obcą domieszką — a czem odtąd mamy być wyłącznie. I właśnie w tym sensie (nie zaś w owym tak mętnym i fałszywym sensie, w jakim się to rozumie powszechnie) można rzec, że śmierć nie jest bezużyteczna, że umarły nadal oddziałują na nas. Działa nawet bardziej niż żywy, skoro bowiem prawdziwa realność wydziela się tylko przez ducha, jest przedmiotem procesu duchowego, znamy naprawdę jedynie to, co musimy odtworzyć myślą, czego nie dostrzegamy w codziennym życiu...

Wreszcie, w tym kulcie żalu po naszych Zmarłych, popadamy w bałwochwalstwo tego co oni kochali. Nietylko matka nie mogła się rozstać z torebką babki, droższą jej niż gdyby była z szafirów i diamentów, z jej mufką, ze wszystkimi temi strojami które podkreślały jeszcze podobieństwo między nimi dwiema, ale także z tomikami pani de Sévigné, które babka miała zawsze z sobą; z egzemplarzem, którego matka nie zamieniłaby nawet na sam rękopis listów. Zartowała niegdyś z babki, która ani razu nie napisała do niej bez zacytowania czegoś z pani de Sévigné lub z pani de Beausergent. Otóż w każdym z trzech listów, jakie dostałem od mamy przed jej przybyciem do Balbec, mama cytowała panią de Sévigné, tak jakby te trzy listy nie ona pisała do mnie, ale babka do niej.

Mama chciała wyjść trochę, aby zobaczyć plażę, o której babka, pisząc do niej, opowiadała jej codzień. Ujrzałem ją z okna: trzymając w ręku parasolkę — „*en tout cas*” — swojej matki, szła, cała w czerni, nieśmiały i nabożnym krokiem po piasku, który deptały przed nią ukochane stopy, tak jakby szła szukać zmarłej, którą fale miały przynieść. Aby jej nie dać jeść obiadu samej, musiałem z nią zejść. Prezydent sądu i wdowa po dziekanie prosili abym ich przedstawił matce. I wszystko co miało związek z babką było jej tak drogie, że uczuła się niezmiernie wzruszona, zachowała wdzięczne wspomnienie słów, które jej rzekł prezydent, a zabolalo ją i oburzyło, że wdowa po dziekanie nie znalazła ani słowa wspomnienia dla zmarłej. W rzeczywistości prezydent równie mało troszczył się o babkę co dziekanowa. Współczujące słowa jego a milczenie jej — mimo że matka widziała w nich taką różnicę — były jedynie różną formą wyrażenia owej obojętności, jaką mamy wobec zmarłych. Ale sądzę, że matce były słodkie zwłaszcza słowa, w które mimo woli przelałem nieco swojego bólu. (Mimo całej jej czułości dla mnie, musiał ten ból być mamie miły, jak wszystko co zapewniało babce trwanie w sercach.)

Przez następne dni matka stale schodziła usiąść na plaży, aby robić ściśle to co robiła jej matka; czytała jej dwie ulubione książki, *Pamiętniki* pani de Beausergent i *Listy* pani de Sévigné. Nie mogła znieść — tak jak nikt z nas — aby nazywano panią de Sévigné „dowcipną markizą”, tak samo jak Lafontaine’a „pocziwcem”. A kiedy czytała w tych listach słowa: „moja córko”, miała uczucie, że to matka mówi do niej.

Nieszczęściem, w jednej z owych pielgrzymek w których chciała być sama, spotkała na plaży pewną damę z Combray, w towarzystwie córek. Zdaje mi się, że nazywała się pani Poussin. Ale myśmy ją nazywali zawsze: „Ładnie zaśpiewasz”, bo tem ustawicznie powtarzaniem zdaniem ostrzegała córki przed nieszczęściami, jakie sobie gotują na przyszłość; naprzykład mówiąc do jednej, która tarła sobie oczy: „Kiedy dostaniesz porządnego zapalenia, dopiero ładnie zaśpiewasz”. Zdaleka słała mamie długie zbolale ukłony, świad-

czące nie o współczuciu lecz o stylu wychowania. Moglibyśmy nie stracić babki i mieć same powody do szczęścia. Damie tej, która pędziła dość ustronne życie w Combray w olbrzymim ogrodzie, nic nie było dość słodkie; miała zwyczaj spieszcząć słowa a nawet nazwiska. Wydawało się jej za twarde nazywać „łyżką” srebrny instrument którym lała swoje syropy: mówiła „łyżeczka”; bałaby się urazić słodkiego piewce Telemaka, zwągo poprostu Fénelon — jak ja czyniłem z pełną świadomością rzeczy, mając przyjaciela, najdroższego, najinteligentniejszego, dobrego i dzielnego, niezapomnianego wszystkim co go znali, Bertranda de Fénelon<sup>950</sup> — i zawsze wymawiała „Fénielon”. Mniej słodki zięć tej pani Poussin (nazwiska jego zapomniałem), będąc rejentem w Combray, uciekł z kasą i przyprawił między innymi mego wuja o stratę dość znacznej sumy. Ale większość mieszkańców Combray tak lubiła innych członków tej rodziny, że nie spowodowało to żadnego ochłodzenia stosunków; ubolewano jedynie nad panią Poussin. Nie przyjmowała gości, ale ilekroć się przechodziło koło jej ogrodu, przystawało się mimowoli, podziwiając jego cudowny mrok, nie mogąc rozpoznać nic więcej. Nie zawadzała nam w Balbec, gdzie spotkałem ją tylko raz, w chwili gdy mówiła do córki gryzącej paznokcie: „Kiedy ci zaczniesz porządnie obierać, ładnie zaśpiewasz”.

Podczas gdy mama czytała na plaży, ja siedziałem sam w pokoju. Przypominałem sobie ostatnie czasy życia babki i wszystko związane z niemi: drzwi wchodowe, które trzymano otwarte, kiedyśmy szli na jej ostatni spacer. W przeciwieństwie do tego wszystkiego, reszta świata wydawała mi się zaledwie realna, a cierpienie moje zatruwało wszystko. W końcu, matka zmusiła mnie abym wyszedł. Ale na każdym kroku jakiś zapomniany widok kasyna, ulicy, którą, czekając na nią pierwszego wieczora, zaszedłem aż do pomnika Duguay-Trouina, bronił mi posuwać się dalej, niby wiatr z którym niepodobna walczyć; spuszczałem oczy, aby nie widzieć. I odzyskawszy trochę sił, wracałem do hotelu, gdzie wiedziałem iż, choćbym czekał najdłużej, nie znajdę babki, którą odnalazłem tam niegdyś pierwszego wieczora.

Ponieważ wychodziłem pierwszy raz, wielu służących, których jeszcze nie widziałem, przyglądało mi się ciekawie. W samym progu hotelu, młody strzelec<sup>951</sup> zdjął czapkę aby mi się uklonić i włożył ją szybko. Sądziłem że Aimé, wedle swego wyrażenia, „dał mu hasło” aby był dla mnie uprzejmy. Ale w tej chwili ujrzałem, że tak samo uchylił czapki dla kogoś innego, kto właśnie wchodził. Istotą rzeczy był fakt, że ów młody człowiek wogóle umiał w życiu jedynie zdejmować i wkładać czapkę, i robił to bardzo dobrze. Zrozumiawszy że jest niezdolny do czego innego i celuje właśnie w tej czynności, spełniał ją możliwie największą ilość razy dziennie, co mu zyskiwało dyskretną lecz powszechną sympatię klientów, a także sympatię portjera, który miał za zadanie przyjmować „strzelców”: poza tym rzadkim okazem, nie mógł znaleźć ani jednego, któryby nie wyleciał ze służby w ciągu tygodnia, ku wielkiemu zdumieniu Aimégo, mówiącego: „Przecież w tym fachu żąda się od nich tylko tyle żeby być grzecznym, to nie powinno być takie trudne”. Dyrektorowi zależało także, aby mieli to co on (zmieszawszy *prezencję* i *reprezentację*) nazywał piękną „reprezencją”.

Wygląd trawnika za hotelem zmienił się wskutek urządzenia paru grządek z kwiatami, oraz usunięcia nietylko egzotycznego krzewu, ale strzelca, który pierwszego roku dekorował na zewnątrz wejście giętką lodygą swojej talji i niezwykłym kolorem włosów. Wyjechał z pewną polską hrabiną, która wzięła go za sekretarza; w czem naśladował dwóch starszych braci i siostrę daktylografkę, wyrwanych z hotelu przez osobistości różnych krajów i różnych płci, wrażliwe na ich młode wdzięki. Pozostał jedynie najmłodszy brat, którego nikt nie chciał, bo zezował. Był bardzo szczęśliwy, kiedy polska hrabina

<sup>950</sup> *Bertrand de Fénelon* — przyjaciel Prousta, który padł na froncie w początkach wielkiej wojny. Wiele z jego sympatycznych rysów weszło w fizjognomię Roberta de Saint-Loup. Szczegół ten, jak wiele innych, świadczy, jak dalece sam Proust zajmuje chwilami miejsce bohatera opowiadania. [przypis redakcyjny]

<sup>951</sup> *strzelec* — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonemi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maxyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach) jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

i protektorowie dwóch innych braci zawitali na jakiś czas do hotelu w Balbec. Bo mimo iż zazdrościł braciom, kochał ich i mógł w ten sposób przez kilka tygodni uprawiać uczucia rodzinne. Czyż księżniczka Fontevrault nie miała zwyczaju — opuszczając swoje mniszki — dzielić gościny, jaką Ludwik XIV ofiarowywał drugiej Mortemart, jej siostrze a swojej kochance, pani de Montespan? Co się tyczy tego chłopca, był w Balbec pierwszy rok, nie znał mnie jeszcze, ale usłyszawszy że starsi jego koledzy, zwracając się do mnie, mówią mi po nazwisku, naśladował ich od pierwszej chwili, zadowolony bądź że stwierdza swoje obycie w stosunku do osobistości najwidoczniej znanej, bądź że się stosuje do zwyczaju, którego nie znał pięć minut przed tem, ale który uważał za obowiązujący.

Rozumiałem doskonale urok, jaki ten wielki *Palace* mógł mieć dla pewnych osób. Był wyreżyserowany jak teatr, a liczna rzesza statystów ożywiała nawet jego architekturę. Mimo iż gość był tylko rodzajem widza, był zarazem ustawicznie wmieszany w widowisko, nie tylko jak w owych teatrach, gdzie aktorzy odgrywają jakąś scenę w sali widzów, ale tak jakby życie widza rozgrywało się wśród przepychów sceny. Tenista mógł wracać w białej flanelowej kurtce, odźwierny, aby mu wręczyć pocztę, przywdział niebieski frak ze srebrnymi galonami. Jeżeli tenista nie chciał wchodzić pieszo, był mimo to wmieszany między aktorów, jadąc na piętro w asyście równie bogato przybranego lift-boya. Korytarze osłaniały bieganie panien służących i pokojówek, nadmorskich piękności, do których amatorzy „subrettek” docierali siłą kunsztownych zachodów. Na dole przeważał element męski, który, dzięki wczesnej i próżniaczej młodzieńczości owej służby, robił z tego hotelu rodzaj ucieleśnionej i wciąż dawanej na nowo tragedji judeo-chrześcijańskiej. Toteż na ich widok, mimowoli powtarzałem sobie nie owe wiersze Rasyna, które mi przysły na myśl u księżnej Marji, gdy p. de Vaugoubert patrzył na młodych dyplomatów kłaniających się panu de Charlus, ale inne wiersze Rasyna, tym razem już nie z *Estery* lecz z *Atalji*; od hallu bowiem — tego, co w XVII wieku nazywano Portykiem — „kwitnący lud” młodych strzelców stał, zwłaszcza w godzinach podwieczorku, niby młodzi izraelici z chórowi Rasyna. Ale nie sądzę, aby który z nich zdołał udzielić nawet tej mętnej odpowiedzi, jaką Joas znajduje dla Atalji, kiedy ta pyta młodocianego księcia: „Jaki twój urząd, dziecię?” bo oni nie mieli żadnego. Co najwyżej, gdyby ktoś spytał którego z nich, jak nowa królowa: „Cały ten lud, w tem miejscu dzisiaj zgromadzony — jakież ma zatrudnienie?” mógłby powiedzieć: „Przyglądam się harmonji wspaniałych obrzędów — i przydaję im blasku”. Czasami, któryś z młodych statystów podchodził do ważniejszej figury, poczem piękny efeb wsiąkał w chór, i o ile to nie była chwila kontemplacyjnego odprężenia, wszyscy splatali swoje bezcelowe, pełne szacunku, dekoracyjne i codzienne ewolucje. Bo z wyjątkiem „wychodni”, chowani „zdala od świata” i nie przekraczający granic dziedzińca, wiedli tę samą rytualną egzystencję co lewicy w *Atalji* i wobec tej „młodej i wiernej gromadki” igrającej u stóp schodów, pokrytych wspaniałymi dywanami, mogłem sobie zadawać pytanie, czy wchodzi do Grand-Hotelu w Balbec czy do świątyni Salomona.

Wracałem wprost do swego pokoju. Myśli moje krążyły zazwyczaj koło ostatnich dni babki, koło tych cierpień, którem przeżywał na nowo, potęgując je tym elementem, trudniejszym jeszcze do zniesienia niż nawet cierpienie cudze i przydanym do nich przez naszą okrutną litość; kiedy myśliśmy, że tylko odtwarzamy boleść ukochanej istoty, litość nasza przesadza ją; ale może to ta litość ma rację, nie zaś świadomość własnego bólu jaką mają ci co go cierpią, nie zdający sobie sprawy ze smutku własnego życia, który litość widzi i nad którym tak cierpi. Bądź co bądź, moja litość przewyższyłaby w nowym skurczu cierpienia babki, gdybym wiedział wówczas to, czego długo nie wiedziałem, że babka, w wilgę śmierci, w chwili świadomości i upewniwszy się że mnie niema, wzięła mamę za rękę i przycisnąwszy do tej ręki spalone gorączką wargi, rzekła: „Bądź zdrowa, córeczko, żegnaj na zawsze.” I może w to wspomnienie matka musiała się wciąż wpatrywać tak bacznie.

Potem wróciły mi słodkie wspomnienia. Była moją babką, ja jej wnukiem. Wyrazy jej twarzy zdawały się pisane w języku istniejącym wyłącznie dla mnie; ona była wszystkim w moim życiu, inni istnieli tylko poprzez nią, poprzez sąd jakiegoby mi o nich udzieliła; ale nie, nasze stosunki były zbyt przelotne, aby mogły nie być przygodne. Nie zna mnie już, nie ujrzę jej nigdy. Nie byliśmy stworzeni wyłącznie dla siebie wzajem, była obca. Tej obcej oglądałem właśnie fotografię, zdjętą przez Roberta.

Spotkawszy Albertynę, mama, pod wrażeniem miłych rzeczy jakie Albertyna powiedziała o babce i o mnie, nalegała abym się z nią zobaczył. Naznaczyłem więc spotkanie. Uprzedziłem dyrektora, aby poprosił Albertynę do salonu. Oświadczył, że ją zna oddawna, jak również jej przyjaciółki, o wiele zanim doszły do „wieku dostałości”, ale że ma do nich żal z powodu tego co mówiły o hotelu. Musiały chyba nie być dobrze „poinfirmowane”, aby tak mówić. Chyba że je poczerniono (oczerniono). Zrozumiałem łatwo, że słowa „dostałość” użył zamiast dojrzałość.

Oczekując godziny, kiedy miał ujrzeć Albertynę, wpatrywałem się — niby w rysunek, którego się w końcu nie widzi, przez to że się mu za długo przyglądało — w fotografię zdjętą przez Roberta, kiedy nagle pomyślał na nowo: „To babcia, ja jestem jej wnuk”, jak cierpiący na amnezję odnajduje swoje imię, jak chory zmienia osobowość. Franciszka weszła, aby mi powiedzieć, że Albertyna już jest; widząc fotografię, dodała:

— Biedna pani, jaka podobna, jak żywa, nawet tę brodaweczkę ma na twarzy; tego dnia kiedy pan margrabia ją sfotografował, była bardzo chora, dwa razy się jej słabo zrobiło. „Ale, Franciszko — powiedziała do mnie — nie trzeba żeby mój wnuczek wiedział o tem”. Dobrze to ukrywała, była zawsze wesoła w towarzystwie. Tylko powiem tyle, uważałam że starsza pani robi się chwilami jakaś nudna. Ale to prędko mijało. I potem mówiła tak: „Gdyby mi się coś przytrafiło, trzeba żeby miał mój portret. Nigdy nie dałam się zdejmować”. Wówczas posłała mnie do pana margrabiego, prosząc żeby panu nie mówił że to ona prosiła, czyby jej nie mógł wyfotografować. Ale kiedy wróciłam z tem że i owszem, nie chciała już, bo się jej zdawało, że bardzo źle wygląda. „To jeszcze gorsze (powiadała), niż żeby nie miał żadnej fotografii”. Ale że starsza pani nie była wcale głupia, poradziła na to, niby kładąc wielki kapelusz z opuszczonym rondem, że nic nie było znać, kiedy nie była w słońcu. Była bardzo kontentna ze swojej fotografii, bo w tej chwili ona nie myślała żeby miała wrócić żywa z Balbec. Darmo jej powtarzałam: „Proszę pani, nie trzeba tak, to grzech gadać takie rzeczy”; nic nie pomogło, takie miała zdanie. Ano cóż, już było sporo czasu, jak nic nie mogła jeść. Dlatego wysyłała panicza het daleko na obiad z panem margrabią. Wtenczas, zamiast iść do sali jadalnej, udawała że czyta, a kiedy powóz pana margrabiego odjechał, kładła się do łóżka. Bywało, że chciała sprowadzić naszą panią, żeby przyjechała ją jeszcze zobaczyć. A potem znów się bała, że ją przestraszy, niby że jej jeszcze nic takiego nie mówiła. „Widzi Franciszka — powiadała — lepiej niech tam siedzi z mężem”.

Patrząc na mnie, Franciszka spytała nagle, czy mi „jest niedobrze”. Odpowiedziałem, że nie, a ona dodała:

— Panicz mnie tutaj trzyma w miejscu i każe gadać z sobą. Może już ta wizyta do pana przyszła. Muszę zejść. To nie jest osoba na tutaj. I taka skakalska jak ona, mogła już odlecieć. Nie lubi czekać. O, teraz, panna Albertyna, to cała figura!

— Myli się Franciszka, panna Albertyna jest bardzo dobra na tutaj, za dobra na tutaj. Ale niech ją Franciszka przeprosi, że jej nie będę mógł dziś przyjąć.

Co za potop „litosiernego” gadulstwa rozpętałbym we Franciszce, gdyby widziała że płacze! Ukryłem to starannie. Inaczej zyskałbym jej sympatię. Ale ona zyskała moją. Nie dość wchodzimy w serce tych biednych sług, które nie mogą patrzeć jak płacemy, tak jakby płacz sprawiał nam ból, lub może im sprawiał ból. Raz kiedy byłem mały, Franciszka powiedziała mi: „Nie płacz tak, paniczu, nie lubię kiedy panicz tak płacze”. Nie lubimy wykrzykników, zakłęcz; źle czynimy: zamykamy w ten sposób serce na patos wsi, na legendę, w jakiej biedna służąca, odprawiona może niesłusznie za kradzież, pobladała, spokorniała nagle tak jakby zbrodnią było być oskarżoną, powołując się na uczciwość swego ojca, roztacza zasady swojej matki, rady swojej babki. Zapewne, ta sama służąca która nie może znieść naszych łez, wpędzi nas bez skrępowań w zapalenie płuc, bo pokojówka lubi przeciągi i grzeczność nie pozwala ich skasować. Bo trzeba, aby nawet ci, co mają rację, jak Franciszka, nie mieli racji, iżby Sprawiedliwość była rzeczą niemożliwą. Nawet skromne przyjemności sług spotykają się z odmową lub szyderstwem państwa. To jest zawsze jakiś drobiazg, ale głupio sentymentalny, antyhigieniczny. Toteż mogą powiedzieć: „Jakto, tylko tyle żądam w ciągu całego roku i odmawiają mi.” A przecież państwo przyzwoliliby o wiele więcej, byleby to nie było głupie i niebezpieczne dla nich — lub dla samych państwa. Z pewnością niepodobna się oprzeć pokorze biednej pokojówki, drżącej, gotowej się przyznać do tego czego nie popełniła, mówiącej: „odejdę dziś



jeszcze, jeżeli trzeba.” Ale trzeba też umieć nie pozostać nieczułym — mimo uroczystej i groźnej banalności jej zakłęk, mimo jej dziedzictwa po matce i godności jej „stron” — dla starej kucharki, udrapowanej w nieskazitelne życie i pochodzenie, trzymającej miotłę jak berło, strojącej swoją rolę w styl tragedji, przerywającej ją szlochem, prostującej się majestatycznie. Tęgo dnia przypomniałem sobie lub wyroilem takie sceny, skojarzyłem je z naszą starą służącą i od tej chwili, mimo wszystkiego złego jakie mogła zrobić Albertynie, ukochałem Franciszkę przywiązaniem przerywanem to prawda, ale z rodzaju najsilniejszych, tych co mają za podłoże litość.

Cierpiałem cały dzień, siedząc przed fotografią babki. Zadawała mi tortury. Mniej wszelako, niż mi ich zadały wieczorem odwiedziny dyrektora. Kiedym wspomniiał o babce, a on ponawiał kondolencje, naraz rzekł (bo lubił używać słów, które przekręcał):

— To tak jak w dniu, kiedy szanowna babka pańska miała ową apleksję, chciałem pana uprzedzić o tem, bo z przyczyny klejenteli, nieprawdaż, to mogło przynieść ujmę zakładowi. Lepiej byłoby, żeby starsza dama wyjechała tego samego dnia. Ale ona błagała mnie żebym nic nie mówił i przyrzekła mi że już nie będzie miała apleksji, albo że za pierwszą apleksją wyjedzie. Coprawda służba doniosła mi, że miała drugą. Ale cóż, byliście państwo starzy klienci, którym człowiek chciałby wygodnie, i ostatecznie, skoro się nikt nie skarżył...”

Tak więc, babka miała ataki i kryła je przedemną! Może w chwili gdym był dla niej najmniej miły, kiedy musiała, mimo iż cierpiąc, udawać że jest w dobrym humorze, żeby mnie nie drażnić i uchodzić za zdrową, żeby jej nie wydalono z hotelu! „Apleksja”! nigdy bym nie wymyślił tej formy, która, w zastosowaniu do kogoś innego, wydałaby mi się może śmieszna; ale tu, w swojej osobliwej inowacji dźwiękowej, podobnej do oryginalnego dysonansu, pozostała długo czemś zdolnem obudzić we mnie najboleśniejże wrażenia.

Nazajutrz, na prośbę mamy, poszedłem wyciągnąć się trochę na piasku, lub raczej w wydmach, tam gdzie się można schować w ich fałdach, i gdzie wiedziałem że Albertyna i jej przyjaciółki nie zdołają mnie odnaleźć. Powieki moje, przymknięte, przepuszczały tylko jedyne światło, całkiem różowe — światło wewnętrznych ścian oczu. Potem zamknęły się całkiem. Wówczas zjawiła mi się babka siedząca w fotelu. Zdawała się tak słaba, robiła wrażenie że żyje mniej niż ktokolwiek. Mimo to, słyszałem jej oddech; czasem znak jakiś okazywał, że rozumiała to cośmy mówili z ojcem. Ale próżno ją ścisakałem, nie mogłem zbudzić tkliwego spojrzenia w jej oczach, ani trochę koloru na policzkach. Była nieobecna, robiła wrażenie że mnie nie kocha, że mnie nie zna, może nie widzi. Nie mogłem zgadnąć sekretu jej obojętności, przygnębienia, milczącego niezadowolenia. Pociągnąłem ojca na bok: „Widzisz przecie — rzekłem — jasne jest, że rozumiała dokładnie wszystko. To kompletne złudzenie życia. Gdyby tak sprowadzić twojego kuzyna, który twierdzi, że umarli nie żyją? Oto już więcej niż rok jak umarła i w rezultacie żyje ciągle. Ale czemu nie chce mnie uściskać? — Patrz, jej biedna głowa opada. — Ale ona chciała iść na Pola Elizejskie. — To szaleństwo! — Doprawdy sądzisz że toby jej mogło zaszkodzić, że mogłaby bardziej umrzeć? Nie możliwe jest, aby mnie już nie kochała. Czy choćbym ją całował, nie uśmiechnie się do mnie nigdy? — Cóż chcesz, umarli są umarli”.

W kilka dni później, słodko mi było patrzeć na fotografię sporządzoną przez Roberta; nie budziła wspomnienia tego, co mi powiedziała Franciszka, dlatego że mnie to wspomnienie już nie opuszczało, przyzwyczailem się do niego. Ale w stosunku do pojęcia jakie sobie wytworzyłem o jej tak ciężkim, tak bolesnym stanie owego dnia, fotografia, korzystając jeszcze ze sztuczek, zdolnych mnie oszukać nawet gdy mi je odsłonięto, ukazywała mi ją tak wytworną, tak niefrasobliwą w tym kapeluszu kryjącym nieco twarz, że mi się wydawała mniej nieszczęśliwa i zdrowsza niż sobie wyobrażałem. A mimo to, policzki jej, mając, bez jej wiedzy, własny wyraz, coś ołowianego, błędnego, jak wzrok zwierzęcia, które się czuje wybrane i naznaczone, dawały babce fizjognomję skazanej na śmierć, bezwiednie posępną, nieświadomie tragiczną, której nie rozumiałem, ale która nie pozwalała nigdy mamie patrzeć na tę fotografię — fotografię, która się jej zdawała nietyle portretem matki, ile portretem matczynej choroby, zniewagi, jaką ta choroba wyrządzała spoliczkowanej brutalnie twarzy.

Potem, któregoś dnia, zdecydowałem się powiadomić Albertynę, że ją przyjmę niebawem. Bo pewnego przedwcześnie upalnego ranka, tysięczne krzyki bawiących się dzieci, baraskujących letników, gazeciarzy, opisały mi ognistemi rysami, splecionemi z sobą

płomykami, gorącą plażą, którą lekkie fale skrapiwały swoim chłodem; wówczas zaczął się, zmieszany z pluskiem wody, koncert symfoniczny, w którym skrzypce wibrowały niby zabłąkany na morzu rój pszczół. I natychmiast zapragnąłem znów usłyszeć śmiech Albertyny, ujrzeć jej przyjaciółki, owe dziewczęta odcinające się na tle fal, żyjące w moim wspomnieniu jako nieodłączny urok, swoista flora Balbec; i postanowiłem wysłać przez Franciszkę słówko do Albertyny, umawiając się na przyszły tydzień, podczas gdy morze, przybierając łagodnie, za każdym bryzgiem pokrywało całkowicie kryształowymi falami melodię, której frazy jawiły się oddzielnie, niby owi aniołowie lutniści, na szczycie włoskiej katedry wznoszący się między grzebieniami modrego porfiru i pieniącego się jaspisu.

Ale w dniu kiedy Albertyna przyszła, było znów brzydko i chłodno; zresztą nie miałem sposobności usłyszeć jej śmiechu; była w bardzo złym humorze. „Balbec jest okropne w tym roku, rzekła. Postaram się nie siedzieć tutaj długo. Wiesz, że tu jestem od Wielkiej Nocy, więcej niż miesiąc! Niema nikogo. Wierz mi, to doprawdy niezbyt rozkoszne”.

Mimo świeżego deszczu i nieba zmieniającego się co chwila, odprowadziwszy Albertynę aż do Epreville (bo Albertyna, wedle swego wyrażenia, „kursowała” między tą plażą, gdzie pani Bontemps miała willę, a Incarville, gdzie była „na stacji” u rodziców Rozamundy), skierowałem się sam w stronę owego gościńca, którym toczył się powóz pani de Villeparisis, kiedyśmy jeździli na spacer z babką. Kałuże wody, których nie osuszyło błyszczące słońce, zmieniały grunt w prawdziwe bagnisko. Pomyślałem o babce, która niegdyś nie umiała przejść dwóch kroków, aby się nie zachłapać. Ale z chwilą gdym doszedł do drogi, to było prawdziwe olśnienie. Tam gdzie widziałem z babką w sierpniu jedynie liście i jakby rusztowanie jabłoni, teraz, jak okiem sięgnąć, jabłonie kwitły z niesłychanym przepychem, z nogami w błocie a w toalecie balowej, nie troszcząc się o to aby nie zniszczyć najcudowniejszego różowego atlasu, jaki można sobie wyobrazić, błyszczącego w słońcu; odległy horyzont morza dawał im tło jakgdyby japońskiej ryciny; kiedy podniosłem głowę, aby spojrzeć na niebo poprzez kwiaty, które przepuszczały jego roz pogodzony, niemal fiołkowy błękit, rzekłbyś że się rozsuwają, aby ukazać głęb tego raj. Pod tym lazurem, lekki ale zimny podmuch wiatru wprawiał w drżenie czerwieniące się bukiety. Błękitne sikory przysiadły na gałęziach i skakały pobłaźliwie między kwiatami tak jakby jakiś amator egzotyizmu i barw sztucznie stworzył to żywe piękno. Ale piękno to wzruszało do łez, bo choćby najdalej zaszło w swoim wyrafinowaniu, czuło się że jest naturalne, że te jabłonie są tam w szczerem polu jak chłopci, na gościńcu francuskim. Następnie, po promieniach słońca przyszły nagle promienie deszczu, posiekały pręgami cały widnokrąg, pochwyciły szereg jabłoni w szarą sieć. Ale te dalej wznosiły swoją kwitnącą i różową piękność na wietrze, który stał się lodowaty w tej ulewie: to był dzień wiosny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Tajemnice Albertyny. Dziewczęta, które widzi w lustrze. — Nieznajoma dama. — Lift-boy. — Pani de Cambremer. — Rozkosze pana Nissim Bernard. Pierwszy szkic dziwnego charakteru Morela. — Pan de Charlus na obiedzie u Verdurinów.*

W obawie aby przyjemność czerpana w tej samotnej przechadzce nie osłabiła we mnie wspomnienia babki, starałem się ożywić to wspomnienie, myśląc o jakimś jej wielkim cierpieniu duchowym; na moje wezwanie, zgryzota ta starała się wzniesć w moim sercu, strzelała w niem w górę olbrzymimi filarami, ale moje serce było z pewnością dla niej za małe, nie miałem siły unieść tak wielkiej boleści, uwaga moja umykała się w chwili gdy ta zgryzota przeobrażała się cała i łuki jej waliły się zanim się spotkały, tak jak się załamują fale zanim zamkną swoje sklepienie.

Jednakże, już z samych moich snów, mógłbym poznać, że mój smutek z powodu śmierci babki malał, ponieważ babka jawiła mi się w snach mniej udręczona pojęciem, jakim sobie tworzył o jej nicości. Widziałem ją wciąż chorą, ale na drodze do wyzdrowienia, miała się lepiej. I jeżeli robiła aluzję do tego co wycierpiała, zamykałem jej usta pocałunkami i upewniałem, że teraz jest wyleczona na zawsze. Byłbym chciał dowieść sceptykom, że śmierć jest doprawdy chorobą, z której się wychodzi. Nie znajdowałem jedynie u babki dawniejszej bogatej samorzutności. Słowa jej były jedynie osłabioną, po-

wolną odpowiedzią, niemal prostym echem moich słów; ona sama była już tylko odbiciem mojej myśli.

Byłem jeszcze niezdolny doznawać na nowo fizycznego pragnienia, mimo to Albertyna zaczynała budzić we mnie jakby żądzę szczęścia. Pewne, wciąż bujające w nas marzenia o odwzajemnianej czułości chętnie łączą się, mocą jakiegoś powinowactwa, ze wspomnieniem kobiety, z którą zazналиśmy rozkoszy, pod warunkiem że to wspomnienie stało się nieco mgliste. To uczucie zbliżało mnie do obrazów Albertyny łagodniejszych, mniej wesołych, nieco odmiennych od tych które byłoby mi nastroczyło pragnienie fizyczne; że zaś owo uczucie było zarazem mniej naglące, chętnie odłożyłem jego realizację do następnej zimy, nie starając się widzieć Albertyny w Balbec przed jej wyjazdem. Ale nawet pośród żywego jeszcze smutku, pragnienie fizyczne odradza się. W łóżku, gdzie mi kazano codziennie długo odpoczywać, pragnąłem aby Albertyna wskrzesiła nasze dawniejsze igraszki. Czyż nie zdarza się, że w tym samym pokoju, w którym stracili dziecko, małżonkowie znów splatają się w uścisku, dając brata małemu zmarłemu? Próbowałem się oderwać od tego pragnienia, idąc do okna popatrzeć na morze. Podobnie jak w pierwszym roku, morze rzadko było jednakie. Ale pozatem nie było też prawie nic podobne do morza z owego pierwszego roku, czy że teraz była wiosna z jej burzami, czy że, gdybym nawet przybył w tej samej porze co za pierwszym razem, inna, zmienniejsza pogoda mogłaby odradzić to wybrzeże niektórym morzom leniwym, mglistym i nikłym, jakie widziałem wówczas, w gorące dni, śpiące na plaży, podnoszące niedostrzegalnie w miękkim pulsowaniu modre łono; czy zwłaszcza dlatego, że moje oczy, nauczone przez Elstira utrzymywać właśnie czynniki które niegdyś chętnie wyłączałem, patrzyły długo na to, czego w pierwszym roku nie umiały widzieć. Owa tak mnie uderzająca wówczas sprzeczność między sielskimi spacerami z panią de Villeparisis a płynnym, niedostępnym i mitologicznym sąsiedztwem wiekiutego Oceanu nie istniała już dla mnie. I przeciwnie, w pewne dni, samo morze zdawało mi się teraz prawie wiejskie. W dość rzadkie dni prawdziwej pogody, gorąco wyżłobiło na wodach, niby w polu, zakurzoną i białą drogę, poza którą ostrze rybackiego statku sterczało niby wiejska dzwonnica. Holownik, ukazujący jedynie komin dymiący w oddali niby odległa fabryka, podczas gdy na horyzoncie białe i wydęte prostokąty, wymalowane z pewnością przez żagiel ale osobliwie zwarte i jakby wapieniste, przywodził na myśl zalany słońcem róg jakiejś budowli, szpitala lub szkoły. I chmury i wiatr, w dniu kiedy się kojarzyły ze słońcem, dopełniały jeżeli nie błędnego sądu, to bodaj złudy pierwszego spojrzenia, sugestji zrodzonej przez nie w wyobraźni. Bo ciągnęła gra ostro od siebie odcinających się barw, jak te które są na wsi wyrazem odmiennych a sąsiadujących pól; szorstkie, żółte i jakby błotniste nierówności powierzchni wód; stoki i wzgórze, kryjące oczom łódź gdzie ekipa zwinnych majtków zdawała się sprzątać zboże, wszystko to w burzliwe dni robiło ocean czemś równie zmiennym, równie stałym, równie urozmaiconym, ludnym, cywilizowanym, jak dostępna powozowi ziemia, po której jeździłem niegdyś i kędy znów miałem podjąć niebawem spacer. I raz, nie mogąc się już oprzeć swojemu pragnieniu, zamiast się położyć, ubrałem się i pojechałem po Albertynę do Incarville.

Chciałem ją prosić, aby mnie odwiozła do Douville, skąd wybierałem się do Feteme z wizytą do pani de Cambremer i do la Raspelière do pani Verdurin. Albertyna zaczekałaby na mnie przez ten czas na plaży i wrócilibyśmy razem w nocy. Wsiadłem do małej kolejki, której wszystkich przydomków nauczyłem się niegdyś od Albertyny i jej przyjaciółek; nazywano ją to *samouarek* z powodu lokomotywy, to *gąsienica* bo się ledwo wlokła, to *transatlantyk* z powodu przeraźliwej syreny, którą ostrzegała przechodniów; usadowiłem się w wagonie, gdzie byłem sam; świeciło wspaniałe słońce, było duszno, spuściłem niebieską storę, tak iż przepuszczała tylko jeden promień słońca. Ale natychmiast ujrzałem babkę, taką jak siedziała w pociągu w czasie podróży z Paryża do Balbec, kiedy, cierpiąc nad tem że piję piwo, wołała nie patrzeć, zamknąć oczy i udawać że śpi. Ja, który nie mogłem niegdyś znieść cierpienia, jakie babka odczuwała widząc męża pijącego koniak, narzuciłem jej nietylko ten ból, że piłem w jej oczach, z cudzej namowy, napój który uważała za zgubny dla mnie, ale zmusiłem ją do tego aby mi pozwoliła raczyć się nim do woli; co więcej, przez swoje dąsy, przez swoje ataki duszności, zmuszałem ją aby mi pomagała to czynić, aby mi doradzała, w ostatecznej rezygnacji, której niemię i zrozpaczony obraz, z oczami zamkniętymi aby nie widzieć, miałem teraz w pamięci.

Takie, wspomnienie niby dotknięcie różdżki przywróciło mi duszę, którą traciłem od jakiegoś czasu; cóż ja mógłbym robić z Rozamundą, kiedy wargi moje przebiegały jedynie rozpaczliwe pragnienie ucałowania zmarłej; o czym mógłbym mówić z Cambremerami i Verdurinami, kiedy serce moje biło tak silnie dlatego że się w niem odtwarzało co chwila ból, jaki babka cierpiała niedyś.

Nie mogłem wytrzymać w tym wagonie. Z chwilą gdy pociąg zatrzymał się w Maineville-la-Teinturière, wysiadłem odrzekając się swoich projektów, doszedłem do skalistego brzegu i szedłem jego krętymi drogami. Maineville nabrało od jakiegoś czasu niemałej ważności i specjalnej reputacji, ponieważ dyrektor licznych kasyn, handlarz szczęścia, zbudował niedaleko stamtąd, z niesmacznym przepychem, zdolnym rywalizować ze stylem *Palace*, zakład, do którego powrócimy jeszcze, a który, mówiąc poprostu, był pierwszym domem publicznym dla eleganckiego świata, jaki przyszło komu na myśl zbudować na wybrzeżach Francji. Był jedyny. Każdy port ma swój taki dom, ale dobry wyłącznie dla marynarzy i dla amatorów egzotyizmu, których bawi oglądać tuż obok odwiecznego kościoła, makarełę niemal równie starą, czcigodną i omszałą, stojącą przed osławioną bramą i wyczekującą powrotu statków rybackich.

Oddalając się od ołsniewającego domu „rozkoszy”, bezczelnie wznoszącego się mimo daremnie kierowanych do mera protestów rodzin, wróciłem na brzeg i szedłem jego krętymi drogami ku Balbec. Usłyszałem wołanie głogów, nie odpowiadając na nie. Te uboższe sąsiadki kwitnących jabłoni krytykowały, mimo iż uznając ich świeżą cerę, ciężkość owych odzianych różowemi płatkami córek grubych fabrykantów jablecznika. Wiedziały, że one same, choć skąpiej uposażone, są jednak bardziej poszukiwane i że na to aby się podobać, wystarczy im ich pogniecionej bieli.

Kiedy wróciłem, odźwierny oddał mi kartę, w której margrabia i margrabina de Geneville, wicehrabia i wicehrabina d'Amfreville, hrabia i hrabina de Berneville, margrabia i margrabina de Graincourt, hrabia d'Amenoncourt, hrabina de Maineville, hrabia i hrabina de Franquetot, hrabina de Chaverny z domu d'Aigleville, udzielali mi wiadomości o swojej żałobie. Zrozumiałem, czemu mi przesłano tę kartę, dopiero wówczas, kiedy ujrzałem nazwiska margrabiny de Cambremer z domu du Mesnil la Guichard, margrabiego i margrabiny de Cambremer, i kiedy wyczytałem, że zmarła, kuzynka Cambremerów, nazywała się Eleonora Eufrazja Humbertyna de Cambremer, hrabina de Criquetot. Na całej przestrzeni tej prowincjonalnej rodziny, której prospekt wypełniał szereg drobnych i gęstych wierszy, nie było ani jednego mieszczanina — tak samo zresztą ani jednego znanego tytułu — było natomiast całe pospolite ruszenie miejscowej szlachty, która kazała śpiewać w swoich nazwiskach — były to nazwy wszystkich interesujących miejscowości w okolicy — radosnym końcówkom na *ville*, na *court*, czasami głuchszym na *tot*. Strojne dachówkami ich zamku lub tynkiem kościoła, z trzęsącą się głową ledwo przerażającą sklepienie lub fasadę gmachu i tylko poto aby się ustroić w latarnię normandzką lub w murek spadzistego dachu, nazwiska te robiły wrażenie, że otrąbiły wici wszystkich ładnych miasteczek, spiętrzonych lub rozrzuconych na pięćdziesiąt mil wokoło, i że je ustawiły w porządnym szyku, bez żadnej luki, bez żadnego intruza, na zwartej i prostokątnej warcabnicy arystokratycznej karty w czarnej obwódce.

Matka udała się do swego pokoju, dumając nad tem zdaniem pani de Sévigné: „Unikam wszelkich osób, które chcą mnie rozerwać po tobie; nie mówiąc tego wprost, chcą mi przeszkodzić myśleć o tobie, i to mnie obraża”; a to dlatego że prezydent sądu powiedział jej, że powinnyby się rozerwać. Do mnie szepnął: „O, księżna Parmy”. Mój strach pierzchnął, kiedy ujrzałem, że kobieta, którą mi pokazywał, nie ma żadnego związku z Jej Królewską Wysokością. Ale ponieważ księżna kazała zatrzymać pokój aby zanoćować w hotelu kiedy będzie wracała od pani de Luxembourg, nowina ta odniosła dla wielu osób ten skutek, że brały każdą nowoprzybyłą za księżną Parmy — dla mnie zaś ten, że poszedłem się zamknąć na swoim poddaszu.

Nie byłbym chciał zostać sam. Była ledwie czwarta. Prosiłem Franciszkę, aby pojechała po Albertynę z prośbą by spędziła wieczór ze mną.

Sądzę iż skłamałbym powiadając, że już się zaczęła bolesna i ciągła nieufność, jaką miała budzić we mnie Albertyna; a tem bardziej specjalny, zwłaszcza gomorejski charakter, jaki miała przybrać ta nieufność. Z pewnością od tego dnia — ale to nie był pierwszy — oczekiwanie moje zabarwiło się pewnym niepokojem. Franciszka, puściw-

szy się w drogę, siedziała tak długo, że zaczynałam tracić nadzieję. Nie zapaliłam lampy. Już się dobrze ściemniło. Wiatr szeleścił chorągwią na kasynie. Katarynka, przystanąwszy przed hotelem, grała walce wiedeńskie, wątlejsza jeszcze w ciszy wybrzeża na którym wzbierało morze, podobna do głosu, któryby wyrażał i wzmagał denerwującą pustkę tej niespokojnej i fałszywej godziny. Wreszcie Franciszka wróciła, ale sama.

— Spieszyłam ile mogłam, ale panna nie chciała iść, niby że nie jest dość ładnie uczesana. Godzinę bez mała siedziała i pomadowała się; będzie istna perfumerja tutaj. Idzie już, przystanęła po drodze, żeby się przyrzadzić przed lustrem. Myślałam, że już ją tu zastanę.

Długi czas jeszcze minął, zanim Albertyna przyszła. Ale wesołość, przymilność, jakie wniosła tym razem, rozprószyły mój smutek. Oznajmiła mi (nawspak temu, co mówiła kiedyś), że zostanie przez cały sezon i spytała, czy nie moglibyśmy, jak pierwszego roku, widywać się codziennie. Odpowiedziałem, że obecnie jestem zbyt smutny i że raczej będę po nią przysyłał od czasu do czasu w ostatniej chwili, jak w Paryżu. „Jeżeli kiedy będzie ci ciężko, albo jeżeli będziesz miał ochotę, nie krępuj się — rzekła; poślij po mnie, przyłecę w te pędy; a jeżeli się nie boisz, że to może narobić zgorzienia w hotelu, zostanę tak długo jak zechcesz”.

Przyprowadzając Albertynę, Franciszka miała wyraz uszczęśliwiony, jak zawsze kiedy podjęła dla mnie jakiś trud i zdołała mi sprawić przyjemność. Ale sama Albertyna nie grała w tej radości żadnej roli, i zaraz nazajutrz Franciszka powiedziała mi głębokie słowa: „Panicz nie powinien widywać się z tą panną. Ja dobrze widzę, jaki ona ma charakter; narobi paniczowi samych zmartwień”.

Odprowadzając Albertynę, ujrzałem w jadalni przez szyby księżną Parmy. Popatrzałem na nią tylko, starając się aby mnie nie widziała. Ale przynaję, że znajdowałem pewną wielkość w królewskiej grzeczności, z której uśmiechałem się u Guermantów. Zasadą jest, że panujący są wszędzie u siebie, ceremonja zaś wyraża to w martwych i czczych zwyczajach, jak np. ten aby pan domu trzymał kapelusz w ręce we własnym salonie, dla stwierdzenia że nie jest już u siebie, ale u panującego. Otóż, księżna Parmy nie uświadamiała sobie może tego pojęcia, ale była niem tak przesiąknięta, że wszystkie jej postęпки, doraźnie narzucone przez okoliczności, wyrażały je. Kiedy wstała od stołu, wręczyła duży napiwek Aimému, tak jakby on tam był wyłącznie dla niej, i jakby, opuszczając jakiś zamek, wynagradzała kamerdynera przydzielonego do jej służby. Nie ograniczyła się zresztą do napiwku, ale z wdzięcznym uśmiechem rzekła mu kilka miłych i pochlebnych słów, wziętych w spadku po matce. Jeszcze trochę, a byłaby mu powiedziała, że hotel jest doskonale prowadzony, Normandja kwitnąca, i że ona, ze wszystkich krajów w świecie, najbardziej kocha Francję. Druga sztuka monety przeszła z rąk księżnej do rąk piwnicznego, którego kazała zawołać i któremu, niby generał po rewji, pragnęła wyrazić zadowolenie. W tej chwili przyszedł lift-boy, przynosząc Jej Wysokości jakąś odpowiedź; i on także otrzymał miłe słówko, uśmiech i napiwek, wszystko z dodatkiem ciepłych i pokornych słów, mających dowieść, że ona, księżna Parmy, nie jest niczem więcej niż oni. Ponieważ Aimé, piwniczny, lift-boy i inni sądzili, że byłoby niegrzecznie nie uśmiechnąć się całą gębą do osoby, która się do nich uśmiecha, niebawem otoczyła księżnę gromadka służby, z którą rozmawiała życzliwie; że zaś tego rodzaju obejście było nieznanne w wielkich hotelach, osoby, przechodzące tamtędy, nie znając nazwiska księżnej, myślały, że to jest jakaś stała klientka Balbec, która, wskutek swego niskiego urodzenia, lub w interesie zawodu (może żona komiwojażera pracującego w szampanach?) mniej odcina się od służby, niż naprawdę szykowni goście. Co do mnie, myślałem o pałacu w Parmie, o nawpół religijnych, nawpół politycznych przestrogach dawanych tej księżniczce, która postępowała z ludem tak, jakby go miała sobie zjednać na czas przyszłego panowania. Więcej jeszcze: jakby już panowała.

Wróciłem do pokoju, ale nie czułem się sam. Słyszałem, że ktoś gra miękko utwory Schumanna. Z pewnością zdarza się, iż ludzie, nawet ci których najbardziej kochamy, przesycają się wydzielałym się z nas smutkiem lub nerwowością. Ale jest coś, co może doprowadzić do rozdrażnienia, jakiego nie osiągnie nigdy żywa osoba: mianowicie fort-pian.

Albertyna poleciła mi abym sobie zapisał daty, w których miała być nieobecna, bawiąc po parę dni u przyjaciółek. Kazała mi też zanotować ich adresy, na wypadek gdybym

jej potrzebował którego z owych wieczorów, bo żadna z przyjaciółek nie mieszkała zbyt daleko. Co sprawiło, że nieraz przyszło mi szukać jej od jednej do drugiej z dziewcząt, które oploty się całkiem naturalnie dokoła niej niby girlandy kwiatów. Śmiem wyznaczyć, że niejedna z tych przyjaciółek — nie kochałem jeszcze Albertyny — dała mi na tej czy innej plaży chwile rozkoszy. Te młode życzliwe towarzyszy nie wydawały mi się zbyt liczne. Ale niedawno znów myślałem o nich, przypomniały mi się ich imiona. Policzyłem, że w ciągu tego jednego sezonu dwanaście dziewcząt użyło mi swoich nikłych faworów. Jedno imię przypomniało mi się później — trzynastka! Wówczas, z jakimś dziecinnym okrucieństwem, chciałem poprześcić na tej liczbie. Niestety, przyszło mi na myśl, że zapomniałem pierwszej, Albertyny, której już nie było, a która była czternastą.

Wróćmy do toku opowiadania. Zapisalem sobie nazwiska i adresy dziewcząt, u których zastałbym Albertynę w dniu, kiedyby jej nie było w Incarville, ale myślałem, że z tych dni skorzystam raczej poto, aby się wybrać do pani Verdurin. Zresztą, pragnienia nasze w stosunku do różnych kobiet nie zawsze mają równą siłę. Jednego wieczora nie możemy się obyć bez tej, która później, przez miesiąc lub dwa, ledwie że działa na nas. Nie tu miejsce studjować przyczyny odmian. W momentach fizycznego wyczerpania, chwilową naszą starczość pociąga obraz kobiety, którą całowałoby się zaledwie w czoło. Co się tyczy Albertyny, widywałem ją rzadko, i jedynie w bardzo nieliczne wieczory, kiedy nie mogłem się bez niej obyć. Jeżeli mnie chwyciło takie pragnienie, a ona była zbyt daleko od Balbec aby Franciszka mogła tam dotrzeć, posyłałem lift-boya do Egreville, do Sogne, do Saint-Frichoux, prosząc go, aby się zwolnił nieco wcześniej. Wchodził do mojego pokoju, przyczem stale nie zamykał drzwi; o ile bowiem odrabiał sumiennie swoją „harówkę”, bardzo ciężką, polegającą od piątej rano na ciągłym sprzątanii, nie mógł się zdobyć na trud zamknięcia drzwi, a kiedy mu się zwróciło uwagę że są otwarte, wracał, i osiągając maximum wysiłku, przymykał je lekko. Z demokratyczną dumą, która go cechowała i której nie dosięgają w zawodach wyzwolonych członkowie liczniejszych profesji, adwokaci, lekarze, literaci, nazywający innego adwokata, literata lub lekarza: „*mon confrère*”, on, posługując się słusznie terminem zastrzeżonym dla ciał szczuplejszych, jak na przykład akademje, powiadał, mówiąc o strzelcu, pełniącym funkcję lift-boya co drugi dzień: „Spróbuję się postarać, aby mnie zastąpił kolega” (*mon collègue*). Ta dumą nie przeszkadzała mu, celem dopełnienia tego, co nazywał „swojem uposażeniem”, przyjmować za drogę napiwków, które ściągnęły nań nienawiść Franciszki: „Tak, za pierwszym razem kiedy go się widzi, wzięłoby się go za jakiego aniołka, ale są dni, że on patrzy na człowieka jak ten zbój. Wszystko to wyłudzacze”. Kategorja, w której Franciszka tak często mieściła Eulaję i którą — gotując tem jakież nieszczęścia! — już obejmowała Albertynę, dlatego że często widziała, jak wypraszałem od mamy, dla mojej niebogatej przyjaciółki, drobiazgi, świecidełka. Franciszce wydawało się to rzeczą nie do przebaczenia, bo pani Bontemps miała tylko jedną służącą „do wszystkiego”.

Niebawem lift-boy, zdjawszy to co jabym nazwał liberją, a co on nazywał *uniformem*, zjawiał się w słomkowym kapeluszu, z laseczką, idąc starannie wystudjowanym krokiem, wyprostowany, bo matka jego zalecała mu, aby się starał nigdy nie robić wrażenia „robotnicarza” lub „strzelca”. Tak samo jak, dzięki książkom, wiedza dostępna jest dla robotnika, który przestaje być robotnikiem kiedy skończył pracę, tak samo, dzięki słomkowemu kapelusikowi i parze rękawiczek, elegancja stawała się dostępna dla lift-boya, który, skończywszy pod wieczór wozić gości, sądził że, jak młody chirurg skoro zdejmie kitel, lub wachmistrz Saint-Loup bez munduru, stał się skończonym światowcem. Nie był zresztą bez ambicji, ani bez talentu w manipulowaniu swoją klatką, tak aby nie uwięznąć między dwoma piętrami. Ale język jego był wadliwy. Wierzyłem w jego ambicje, ponieważ, mówiąc o odźwiernym który był jego zwierzchnikiem, powiadał: „Mój odźwierny”, tym samym tonem, jakim człowiek posiadający w Paryżu to co strzelec nazwał by „pałacym” mówiłby o swoim portjerze. Co do języka lift-boya, ciekawe jest, że ten chłopak, który słyszał pięćdziesiąt razy dziennie gości mówiących „winda”, sam mówił zawsze „wienda”. Pewne rzeczy były szczególnie drażniące u tego lift-boya; np. cokolwiek bym mu powiedział, zawsze przerywał mi wykrzyknikiem: „Ma się wie! albo: „Ma się wi!” co wyrażało albo to że moja uwaga jest tak oczywista iż każdy byłby wpadł na nią, albo też przesunęło na niego całą zasługę, jakby to on zwrócił na to uwagę. „Ma się wie” albo „Ma się

wi”, wykrzykiwane z największą energją, powtarzało się co dwie minuty w jego ustach, na rzeczy na które nigdyby nie wpadł, co mnie tak drażniło, że natychmiast mówiłem coś wręcz przeciwnego, aby mu dowieść że nie rozumie nic. Ale przy mojem drugiem twierdzeniu mimo że było nie do pogodzenia z poprzedniem, odpowiadał tak samo: „Ma się wie”, „Ma się wi”, tak jakby te słowa były nieuniknione.

Z trudnością przebaczałem mu również to że używa pewnych terminów technicznych — które byłyby z tej przyczyny bardzo odpowiednie w sensie dosłownym — jedynie w przenośni, co im dawało intencję niby to dowcipną a w gruncie głupawą, naprzykład słowo „pedały”. Nigdy nie używał tego słowa, kiedy jechał na rowerze. Ale jeżeli szedł pieszo i spieszył się aby zdążyć na czas, wówczas dla określenia że szedł szybko, powiadał: „Ma się wi, że się wyciągało pedały”.

Lift-boy był raczej mały, źle zbudowany i dosyć brzydki. To nie przeszkadzało, że za każdym razem, kiedy mu się mówiło o młodym człowieku wysokim i smukłym, powiadał: „A, tak, wiem, jest zupełnie mojego wzrostu”. Pewnego dnia, czekając na jego powrót z odpowiedzią i słysząc kroki na schodach, otworzyłem przez niecierpliwość drzwi i ujrzałem Strzelca pięknego jak Endymion, z rysami niewiarygodnie doskonałemi; szedł z poleceniem jakiejś damy, której nie znałem. Kiedy lift-boy wrócił, wówczas, podkreślając jak niecierpliwie czekałem jego odpowiedzi, opowiedziałem mu, że myślałem że to on wraca, ale że to był strzelec z hotelu Normandzkiego. „A tak, wiem który, rzekł; tam jest tylko jeden; chłopiec mojego wzrostu. Z twarzy jest do mnie podobny tak, że możnaby nas pomylić; powiedziałby kto dwa bliźniaki.” Do tego chciał zawsze okazać, że wszystko rozumiał od pierwszej sekundy, co sprawiało, że kiedy mu ktoś dawał zlecenie, odpowiadał: „Tak, tak, tak, tak, tak, rozumiem wybornie”, pewnym i inteligentnym tonem, który mi dawał jakiś czas złudzenie; ale ludzie w miarę jak się ich poznaje są jak metal zanurzony w odczynniku; widzi się jak pomału tracą swoje przymioty (a czasem wady).

Zanim mu wydałem zlecenie, spostrzegłem że zostawił drzwi otwarte; zwróciłem mu na to uwagę, gdyż bałem się, aby nas kto nie usłyszał; uwzględnił moje życzenie i wrócił zmniejszwszy szparę. „Żeby panu zrobić przyjemność. Ale niema nikogo na całym piętrze, prócz nas dwóch”. W tej samej chwili usłyszałem przechodzącą najpierw jedną osobę, potem dwie, potem trzy. Drażniło mnie to z obawy niedyskrecji, ale zwłaszcza dlatego, że widziałem, iż jego to wcale nie dziwi i że to jest normalny ruch. „Tak, to pokojówka z obok, idzie po swoje rzeczy. Och, to jest nic, to piwniczny odnosi klucze. Nie, nie, to nic, może pan mówić, to mój kolega odbiera służbę”. Że zaś racje, dla których wszyscy ci ludzie przechodzili, nie zmniejszały mojej obawy że mogą mnie usłyszeć, przeto, na mój formalny rozkaz, poszedł — nie zamknąć drzwi — to byłoby nad siły tego cyklisty, który marzył o motocyklu — ale przymknąć je nieco bardziej. „Teraz jesteśmy całkiem spokojni”. Byliśmy w istocie tak spokojni, że jakaś Amerykanka weszła i wyszła, przepaszając że pomyliła numer pokoju. „Przyprowadzisz mi tę panienkę — rzekłem zatrzasnąwszy sam drzwi ze wszystkich sił, co sprowadziło innego strzelca dla sprawdzenia czy okno nie jest otwarte. — Przypominasz sobie dobrze: panna Albertyna Simonet. Zresztą masz napisane na kopercie. Masz jej tylko powiedzieć, że to odemnie. Przyjdzie bardzo chętnie — dodałem, aby go zachęcić i aby się zanaćto nie upokarzać. — Ma się wi! — Ale nie, to wcale nie jest naturalne że przyjdzie chętnie. To bardzo uciążliwe wybrać się tutaj z Bemeville. — Pewnie! — Powiesz jej, żeby przyjechała z tobą. — Tak, tak, tak, rozumiem doskonale, odpowiadał owym ścisłym i sprytnym tonem, który oddawna przestał na mnie robić „dobre wrażenie”, bo wiedziałem że jest niemal mechaniczny i że poza swoją pozorną ścisłością kryje otchłań tumaństwa i głupoty. — O której godzinie będziesz z powrotem? — Nie trza na to dużo czasu, powiadał windziarz, który, wbrew prawdom wygłaszanym w *Uczonych Białogłowach* przez Belizę, stale posługiwał się formą trza zamiast trzeba. Mogę bardzo dobrze tam iść. Właśnie skasowano teraz wychodnię, bo jest w salonie śniadanie na dwadzieścia osób. A to była moja pora na wyjście. Tak że należy mi się, żebym trochę wyszedł wieczór. Wezmę rower. W ten sposób będę pędko”. I w godzinę później zjawiał się, powiadając: „Pan długo czekał, ale panienska jest ze mną. Jest na dole. A! dziękuję, a odźwierny czy się nie będzie gniewał na mnie? — Pan Paweł? on nawet nie wie, gdzie ja byłem. Nawet portjer nie ma tu nic do gadania”. Ale raz, kiedy mu zleciłem: „Trzeba koniecznie żebyś panienkę przyprowadził”, powiedział

z uśmiechem: „Pan wie, że nie znalazłem panienki. Niema jej tam. A nie mogłem zostać dłużej; bałem się, że mi się stanie tak jak memu koledze, którego wypędzono z hotelu”.

Nie przez złośliwość się uśmiechał, ale przez nieśmiałość. Myślał, że zmniejszy wagę swojej winy, obracając ją w żart. Tak samo, kiedy mówił: „*Pan wie*, że panienki nie znalazłem”, to nie dlatego aby sądził w istocie że ja to wiem. Przeciwnie, był pewny że nie wiem, a zwłaszcza bał się mnie. Toteż powiadał „pan wie”, aby sobie samemu oszczędzić wzruszeń, jakie przebywał, wymawiając słowa mające mnie o tem powiadomić. Nie powinno się nigdy wściekać na tych, którzy, przyłapani przez nas na błędzie, zaczynają się podśmiechiwać. Nie robią tego dlatego aby sobie drwili, ale drżą że możemy być niezadowoleni. Bądźmy bardzo miłosierni, bądźmy bardzo łagodni dla tych co się śmieją. Zmieszanie lift-boya, podobne do prawdziwego ataku, spowodowało u niego nie tylko apoplektyczną czerwoność, ale zmianę języka, który nagle stał się gminny. W końcu wytłumaczył mi, że Albertyny niema w Egreville, że miała wrócić dopiero o dziewiątej, i że jeżeli czasem — chciał powiedzieć „przypadkiem” — wróciłaby wcześniej, powtórzonoby jej zlecenie i w każdym razie byłaby u mnie przed pierwszą w nocy.

## *Sodoma i Gomora*



# CZĘŚĆ DRUGA, TOM DRUGI

## ROZDZIAŁ II (CIAĞ DALSZY)

Jeszcze nie tego wieczora zresztą zaczęła się utrwać moja okrutna nieufność. Nie; powiedzmy odrazu (mimo iż fakt zdarzył się aż w kilka tygodni później), urodziła się ona z pewnej uwagi doktora Cottard. Albertyna i jej przyjaciółki chciały mnie owego dnia wyciągnąć do kasyna w Incarville. Nie byłbym się tam z nimi spotkał, ponieważ chciałem się wreszcie wybrać do pani Verdurin, która mnie zapraszała kilka razy; ale zatrzymało mnie — właśnie w Incarville — popsucie się kolejki, wymagające pewnego czasu na reparację. Spacerując na stacji w oczekiwaniu aż skończą, znalazłem się nagle nos w nos z doktorem Cottard, przybyłym do Incarville na konsylium. Wahałem się, czy mam się przywitać, wobec tego że nie odpowiedział mi na żaden list. Ale uprzejmość nie objawia się u wszystkich ludzi jednak. Nie przeszedłszy za młodu tresury światowej, Cottard był pełen dobrych intencji, których się nie znało, o których się wątpiło, aż do dnia gdy je miał sposobność objawić. Przeprosił mnie, otrzymał moje listy, oznajmił moją bytność w Balbec Verdurinom, którzy — powiadał — mają wielką ochotę mnie widzieć i do których radził mi się wybrać. Chciał mnie nawet zabrać do nich tego wieczora, bo wybierał się tam kolejką na obiad. Ponieważ nie byłem całkiem zdecydowany, a mieliśmy trochę czasu do pociągu (naprawa miała potrwać dłużej), zaciągnąłem doktora do kasyna. Było to jedno z kasyn, które mi się zdawały tak smutne wieczorem, w dniu pierwszego przybycia, a obecnie pełne było zgiełku dziewcząt, tańczących w braku tancerzy z sobą. Anna podbiegła do mnie w glisadach. Myślałem, że odjadę za chwilę z Cottardem, kiedy nagle odrzuciłem stanowczo jego propozycję, zdjęty zbyt gwałtowną chęcią zostania z Albertyną; a to dlatego, że usłyszałem jej śmiech. I ten śmiech wywołał we mnie wrażenie różowych karnacji i pachnących tkanek, o które zdawał się ocierać; ten śmiech, ostry, zmysłowy, wyzywający, niby zapach geranji, niósł z sobą jakieś cząsteczki niemal dające się zważyć, drażniące i tajemne.

Jedna z dziewcząt — nie znałem jej — siadła do fortepianu, Anna zaprosiła Albertynę do walca. Myśląc z rozkoszą że zostanę w kasynie z dziewczętami, zwróciłem uwagę doktora, jak one dobrze tańczą. Ale on, z owym specjalnie lekarskim spojrzeniem i ze złem wychowaniem ignorującym okoliczność że to są moje znajome (mimo iż widział jak się ze mną witały), odpowiedział:

— Tak, ale rodzice są dosyć lekkomyślni, że pozwalają córkom nabierać takich przyzwyczajęń. To pewna, że swoim córkom nie pozwoliłbym bywać tutaj. Czy są bodaj ładne? Nie dobrze rozróżniam rysy. O, popatrz pan — dodał wskazując Albertynę i Annę, które wtulone w siebie, walcowały zwolna — zapomniałem binokli i nie widzę dobrze, ale one są z pewnością w pełni orgazmu. Ludzie nie wiedzą, że kobiety osiągnają to zwłaszcza przez piersi. A popatrz pan, ich piersi stykają się kompletnie.

W istocie, kontakt piersi Albertyny i Anny nie przerywał się ani na chwilę. Nie wiem, czy usłyszały lub odgadły uwagę Cottarda, ale odsunęły się od siebie, wciąż walcując. Anna szepnęła coś Albertynie; ta zaśmiała się tym samym przenikliwym i głębokim śmiechem, jaki słyszałem przed chwilą. Ale wzruszenie, o jakie mnie przyprawił teraz ów śmiech, było mi już tylko okrutne; miałem wrażenie, że Albertyna komunikuje nim Annie jakiś rozkoszny i tajemniczy dreszcz. Dźwięczał ten śmiech jak pierwsze lub ostatnie akordy nieznanej zabawy. Odszedłem z Cottardem, rozmawiając z roztargnieniem, myśląc jedynie chwilami o scenie, którą przed chwilą oglądałem. Nie znaczyło to, aby konwersacja doktora była interesująca. Stała się nawet w tej chwili cierpka, bo właśnie spostrzegliśmy doktora du Boulbon, który nas nie widział. Przyjechał spędzić jakiś czas po przeciwnej stronie zatoki Balbec, gdzie zasięgano często jego porady. Otóż, mimo że Cottard zwykł był oświadczać, że nie uprawia medycyny na wakacjach, spodziewał się wyrobić sobie na tem wybrzeżu pierwszorzędną praktykę, w czym, jak mniemał, przeszkodził mu doktor du Boulbon.

Rzecz prosta, że miejscowy lekarz z Balbec nie mógł być groźny dla Cottarda. Był to poprostu praktyk bardzo sumienny, który umiał wszystko i któremu nie możnaby wspo-

mnieć o najlżejszym swędzeniu, aby nie zalecił natychmiast, w skomplikowanej receptce, odpowiedniej maści, zmywania lub kataplazmu. Jak mówiła w swoim ładnym języku Marja Gineste, on umiał „zamawiać” skaleczenia i rany. Ale nie był firmą. Ten lekarz sprawił Cottardowi mały kłopot. Profesor, od czasu jak chciał zamienić swoją katedrę na katedrę terapii, wyspecjalizował się w intoksykacjach. Intoksykacje, niebezpieczna nowość w medycynie, służąca do odnowienia etykietek aptekarzy, których wszelki produkt (z wyjątkiem leków „sympatycznych”) uznaje się za zgoła nie toksyczny a nawet dezintoksykujący. To jest modna dziś reklama; zaledwie natomiast przetrwało gdzieś u dołu, nieczytelnymi literami, jak wąty ślad poprzedniej mody, zapewnienie, że dany produkt został starannie zdezinfekowany. Intoksykacje służą też do uspokojenia chorego, który dowiaduje się z radością, że jego paraliż jest tylko niedomaganiem toksycznym. Otóż, pewien Wielki książę, przybyły na kilka dni do Balbec, mając oko straszliwie obrzmiałe, wezwał Cottarda, który, w zamian za kilka stufrankówek (profesor nie trudził się taniej), ujrzał w zapaleniu oka stan toksyczny i przepisał djetę dezintoksykującą. Kiedy oko nie kłęśło, Wielki książę zwrócił się do miejscowego lekarza w Balbec, który w pięć minut wydobyl jakiś pyłek. Nazajutrz nie było śladu.

Ale niebezpieczniejszym rywalem był luminarz chorób nerwowych. Był to człowiek rumiany, jowialny, zarówno dlatego że obcowanie ze zwyrodnieniami nerwowymi nie przeszkadzało mu miewać się bardzo dobrze, jak również poto aby pokrzepiać chorych szerokim śmiechem i uściskiem dłoni, choćby miał swoim atletycznym ramieniem pomóc ich później ubrać w kaftan bezpieczeństwa. Bądź co bądź, kiedy się z nim rozmawiało w towarzystwie, choćby o polityce lub o literaturze, słuchał człowieka z życzliwą uwagą, jakby zadając sobie pytanie: „Z jakim wypadkiem mamy do czynienia?” nie wypowiadając się od razu, tak jakby chodziło o konsultację. Ale ostatecznie ten lekarz, przy całym swoim talencie, był specjalistą. Toteż cała wściekłość Cottarda wyładowała się na doktorze du Boulbon. Pożegnałem zresztą niebawem zaprzyjaźnionego z Verdurinami profesora, przyrzekając że ich odwiedzę niebawem.

Ból, jaki mi sprawiły jego słowa tyżące Albertyny i Anny, był głęboki, ale najgorszych jego ukłuc nie odczułem natychmiast, podobnie jak się zdarza w zatruciach działających dopiero po pewnym czasie.

Owego wieczora kiedy lift-boy poszedł po Albertynę, mimo jego zapewnień nie przyszła. To pewna, że wdzięki danej osoby mniej często są przyczyną miłości, niż jakieś słowa w tym rodzaju: „Nie, dziś wieczór nie będę wolna”. Nie bardzo zwracamy uwagę na to zdanie, kiedy jesteśmy z przyjaciółmi; jesteśmy weseli cały wieczór, nie nawiedza nas pewien obraz; przez ten czas, obraz ów kąpie się w odpowiednim płynie; za powrotem znajdujemy kliszę już wywołaną i zupełnie wyraźną. Spostrzegamy, że życie nie jest tem życiem które bylibyśmy porzucili dla lada drobnostki wczoraj, o ile bowiem nadal nie lękamy się śmierci, nie śmiemy już myśleć o rozłącze.

Zresztą, począwszy nie od pierwszej w nocy (godziny, którą windziarz zapowiedział), ale od trzeciej, nie doznawałem już jak dawniej bólu wynikłego ze zmniejszających się szans aby się Albertyna zjawiła. Pewność, że już nie przyjdzie, przyniosła mi zupełny spokój, świeżość; ta noc była poprostu jedną z wielu nocy spędzonych bez Albertyny; przyjąłem to za punkt wyjścia. I z tą chwilą, myśl że ją ujrzę nazajutrz albo w inne dni, odcinając się na tej przyjętej przezemnie nicości, stawała się słodka. Czasami, w ciągu tych wieczorów oczekiwania, ucisk serca wynika z leku, który się zażyło; cierpiący interpretuje fałszywie swój niepokój: myśli, że cierpi z powodu osoby która nie przychodzi. Miłość rodzi się w tym wypadku, jak pewne choroby nerwowe, z niedokładnego wytłumaczenia sobie przykrego uczucia. Wytłumaczenie, którego lepiej nie prostować, przynajmniej w zakresie miłości, które to uczucie (cobądź jest jego przyczyną) jest zawsze omyłką.

Nazajutrz, kiedy Albertyna napisała do mnie, że dopiero wróciła do Epreville, że tem samem nie dostała mojego listu na czas, i że zajdzie, jeśli pozwolę, do mnie wieczorem, miałem wrażenie, iż poza słowami jej listu — jak poza temi, które mi mówiła raz przez telefon — czuję obecność uciech i osób, które przełożyła nademnie. Jeszcze raz wstrząsnęła mną całym bolesna ciekawość dowiedzenia się co ona mogła robić, utajona miłość, którą się zawsze nosi w sobie; przez chwilę mogłem myśleć, że ta miłość przywiąże mnie do Albertyny: ale dygotała tylko w miejscu; ostatnie jej pomruki ścichły, a nie ruszyła z miejsca.

Źle zrozumiałem za pierwszym swoim pobytom w Balbec charakter Albertyny; Anna może również. Sądziłem, że to była dziecinność; ale nie wiedziałem, czy wszystkie nasze błagania nie zdołałyby jej zatrzymać i skłonić do poniechania jakiejś *garden-party*, wycieczki na osłach lub pikniku. W czasie drugiego pobytu w Balbec, zacząłem podejrzewać, że ta dziecinność była jedynie pozorem, *garden-party* tylko parawanem, jeśli nie wykrętem. Działa się pod rozmaitemi formami rzecz następująca (to znaczy rzecz widziana przezemnie, od mojej strony szkła, które nie było zgoła przezroczyste, przyczem nie mogłem wiedzieć, co było prawdą z drugiej strony). Albertyna obsypywała mnie najgorętszymi zaklęciami czułości. Patrzała na zegarek, bo miała być z wizytą u pewnej damy, która jakoby przyjmowała codziennie o piątej w Infreville. Dręczony podejrzaniem, czując się zresztą cierpiący, prosiłem Albertynę, błagałem ją, aby została ze mną. Było to niemożliwe (miała już tylko pięć minut czasu), bo toby bardzo pogniewało tę damę, nie zbyt gościnną i podejrzliwą, i — jak mówiła Albertyna — przenudną. „Ależ można przecież opuścić wizytę. — Nie, ciotka mnie uczyła, że trzeba być przede wszystkim grzeczną. — Ależ widziałem, że tak często byłaś niegrzeczna. — To nie jest to samo, ta pani obraziłaby się i narobiłaby mi historii z ciotką. I tak nie jestem już z nią zbyt dobrze. Ciotce zależy na tem, abym tam raz była. — Ale skoro ona przyjmuje codzien?” Na to, Albertyna, czując że wpadła, zmieniała argumenty. „Rozumie się, że przyjmuje codzien. Ale dziś umówiłam się u niej z przyjaciółkami. W ten sposób będzie mniej nudno. — W takim razie, Albertyno, wolisz tę osobę i swoje przyjaciółki ode mnie, skoro, aby nie ryzykować wizyty trochę nudnej, wolisz mnie zostawić samego, chorego, z moim smutkiem? — O to nie chodzi, że byłoby nudno. Ale robię to przez poświęcenie dla nich. Mam je odwiedzić kabrioletem. Inaczej nie miałyby żadnej możliwości powrotu”.

Zwróciłem uwagę Albertyny, że są z Infreville pociągi do 10 wieczór. „To prawda, ale wiesz, możliwe jest, że nas zatrzymają na obiad. Ta pani jest bardzo gościnną. — No więc odmówisz. — Pogniewałabym ciotkę. — Zresztą, możecie zostać na obiedzie i wrócić o dziesiątej. — To trochę mało czasu. W takim razie ja nigdy nie mógłbym być gdzieś na obiedzie i wrócić pociągiem. Ale wiesz, Albertyno, zrobimy rzecz bardzo prostą; czuję, że mi powietrze dobrze zrobi; skoro nie możesz puścić kantem tej damy, odwiozę cię do Infreville. Nie bój się, nie pójdę aż do *wieży Elżbiety* (willa owej damy), nie zobaczę ani tej damy ani twoich przyjaciółek”.

Albertyna robiła wrażenie, że otrzymała straszny cios. Słowa się jej rwały. Powiedziała, że kąpiele morskie jej nie służą. „Może ci to przykrość sprawia, żebym jechał z tobą? — Ależ skądże, jak możesz tak mówić, wiesz, że największa przyjemność dla mnie, to być z tobą”.

Nastąpił nagły zwrot:

— Skoro mamy jechać na spacer, czemu nie pojechalibyśmy w drugą stronę Balbec, zjedlibyśmy obiad razem. Tobo było tak miło. W gruncie rzeczy, ta strona jest o wiele ładniejsza. Zaczynam mieć dość Infreville i całej reszty, wszystkich tych dziur zielonych jak szpinak. — Ale przyjaciółka ciotki się obrazi? — No to co, to się potem odobrazi. — Nie, nie trzeba być dla nikogo niegrzeczną. — Ale ona nawet tego nie zauważy, ona przyjmuje codzien, czy będę u niej jutro, pojutrze, za tydzień, za dwa, i tak będzie na czas. — A twoje przyjaciółki? — Och, dość często mnie puszczały kantem, kolej na rewanz. — Ale od strony, którą mi proponujesz, niema pociągów po dziewiątej. — No więc, cóż to szkodzi, dziewiąta wyborna godzina. A potem nie trzeba się nigdy kłopotać o kwestję powrotu. Zawsze się znajdzie jakiś wózek, rower, w braku czego lepszego ma się nogi. — Zawsze się znajdzie, Albertyno, co ty pleciesz! Od strony Infreville, gdzie stacyjki są usiane gęsto, owszem. Ale od tamtej strony... to już nie to samo. — Nawet od tamtej strony. Przyrzekam ci, że cię odstawię zdrowym i całym.

Czułem, że Albertyna wyrzeka się dla mnie czegoś ułożonego, czego nie chciała mi powiedzieć, i że jest ktoś, kto będzie nieszczęśliwy jak ja wprzód. Widząc, że to czego chciała nie jest możliwe (skoro zamierzyłem jej towarzyszyć), zdecydowała się poprostu zrezygnować. Wiedziała, że to się da naprawić. Bo, jak wszystkie kobiety mające kilka miłostek naraz, posiadała niezawodny atut: podejrzanie i zazdrość. Z pewnością nie starała się ich podsycać, przeciwnie. Ale zakochani są tak podejrzliwi, że natychmiast zwęszą kłamstwo. Tak, iż Albertyna nie była lepsza od innych; wiedziała z doświadczenia (nie zgadując ani trochę, że zawdzięcza to zazdrości), że zawsze odnajdzie tego, którego

pewnego wieczora wystrychnęła na dudka. Nieznana osoba, której zrobiła dziś zawód dla mnie, będzie cierpiała, będzie ją za to kochała tem więcej (Albertyna nie wiedziała, że to dlatego), i aby nie cierpieć dłużej, wróci sama z siebie do niej, tak jak jabym to uczynił. Ale nie chciałem ani jej robić przykrości, ani męczyć się, ani wchodzić na straszliwą drogę śledztwa, wielopostaciowego, niezliczonego nadzoru.

— Nie, Albertyno, nie chcę ci psuć przyjemności, jedź do Infreville do swojej damy, czy też do osoby której ona jest pseudonimem, to mi wszystko jedno. Prawdziwą przyczyną tego że nie jadę z tobą, jest fakt, że ty tego nie pragniesz, że spacer ze mną nie byłby tem na co się cieszyłaś, czego dowodem jest, że zaprzeczyłaś sama sobie więcej niż pięć razy, nawet nie zauważywszy tego.

Biedna Albertyna bała się, że jej sypki, z których nie zdawała sobie sprawy, mogły być poważniejsze. Nie wiedząc dokładnie co skłamała, rzekła:

— To bardzo możliwe, że coś naplotła. Morskie powietrze odbiera mi wszelką zdolność myślenia. Mówię co chwila jedno nazwisko za drugie.

Słyszac potwierdzenie tego, co jedynie lekko podejrzewałem, uczułem ból jakby dotkliwej rany, co mi dowiodło, że Albertyna nie potrzebowałaby w tej chwili wielu tklivych zapewnień na to abym jej uwierzył.

— Więc dobrze, niech będzie, jadę — rzekła tragicznym głosem, zerkając równocześnie na zegarek aby sprawdzić, czy się nie spóźni do owej innej osoby, teraz kiedy jej dałem pretekst nie spędzenia wieczoru ze mną. — Jesteś niegodziwy. Zmieniam wszystkie plany, aby z tobą spędzić miły wieczór, a ty nie chcesz i zarzucasz mi kłamstwo. Nigdy nie byłeś jeszcze tak okrutny. Morze będzie moim grobem. Nie ujrzę cię już nigdy. (Serce zabiło mi przy tych słowach, mimo iż byłem pewny, że wróci jutro, co też się stało). Utopię się, rzucę się w wodę. — Jak Safo. — Jeszcze jedna zniewaga więcej; podejrzewasz nie tylko moje słowa, ale i uczynki. — Ależ, kochanie, ja nie miałem najmniejszego zamiaru, przysięgam ci: wiesz, że Safo rzuciła się w morze. — Nie, nie, ty nie masz do mnie żadnego zaufania.

Ujrzała, że ma już ledwo parę minut czasu, bała się przepuścić okazję, i wybierając pożegnanie najkrótsze (za co przeprosiła mnie zresztą przyszedłszy nazajutrz: zapewne tego dnia tamta osoba nie była wolna), uciekła pędem ze zrozpaczoną miną, krzycząc: „Zegnaj na zawsze”. I może była w rozpacz. Bo, wiedząc lepiej odemnie co robi w tej chwili, surowsza i pobłażliwsza zarazem dla siebie niż ja byłem dla niej, może bała się, mimo wszystko, że, po sposobie w jaki się ze mną rozstała, nie zechcę jej widzieć na oczy. Otóż, zdaje mi się, że jej zależało na mnie, tak że ta druga osoba bardziej była zazdrosna i więcej cierpiała odemnie.

W kilka dni potem, w Balbec, kiedyśmy byli na sali balowej w kasynie, weszły siostra i kuzynka Blocha. Obie bardzo wyładniały, ale nie kłaniałem się im już z powodu moich towarzyszek, ile że młodsza, kuzynka Blocha, żyła niemal publicznie z aktorką, z którą się zapoznała za mego pierwszego pobytu. W związku z aluzją jaką ktoś zrobił półgłosem w tym względzie, Anna rzekła do mnie: „Och, na tym punkcie jestem jak Albertyna; niema rzeczy, któraby nas przejmowała większym wstrętem”. Co się tyczy Albertyny, siedzącej koło mnie na kanapie, odwróciła się plecami do obu podejrzanych dziewcząt i zaczęła rozmawiać ze mną. Mimo to, zauważyłem, że w chwili gdy się zjawiły panna Bloch i jej kuzynka, gest ów poprzedziło w oczach Albertyny nagłe i głębokie skupienie, które twarzy figlarnego dziewczęcia dawało czasami wyraz poważny, niemal tragiczny, i potem zostawiało cień smutku. Ale tuż potem Albertyna zwróciła do mnie oczy, które mimo to pozostały osobliwie nieruchome i marzące.

Panna Bloch i jej kuzynka odeszły w końcu, śmiejąc się hałaśliwie i wydając niezbyt przyzwoite okrzyki. Spytałem Albertyny, czy jedna z nich, blondynka (ta co była przyjaciółką aktorki), to nie ta sama, która wczoraj dostała nagrodę na corso kwiatowem.

— Och, nie wiem — rzekła Albertyna — czy która z nich jest blondynka? Powiem ci, że mnie one nie zbyt interesują, nigdy im się nie przyglądałam. Czy która z nich jest blondynka? — zwróciła się pytająco i swobodnie do przyjaciółek.

W stosunku do osób, które Albertyna spotykała codzien na didze, nieświadomość ta wydała mi się zbyt jaskrawa aby nie miała być udana. „I one również nie robią wrażenia, aby się nam zbyt przyglądały, rzekłem do Albertyny, pragnąc — może nieświadomie — w razie gdyby Albertyna miała pociąg do kobiet — odjąć jej wszelki żal, dowodząc że

nie ściągnęła na siebie uwagi tych dziewcząt, oraz że — biorąc rzecz ogólniej — nie jest przyjęte, nawet u najbardziej zepsutych, interesować się osobami, których się nie zna.

— Nie patrzyły na nas, właśnie! — odparła niebacznie Albertyna. — Cały czas nic innego nie robiły.

Skąd możesz wiedzieć — rzekłem; — obrócona byłaś plecami.

— No a to? — odparła, wskazując nawprost nas wielkie lustro, którego nie zauważyłem. Zrozumiałem teraz, że Albertyna, wciąż rozmawiając ze mną, nie przestała się uważnie wpatrywać w to lustro swemi pięknymi i skupionymi oczami.

Poczawszy od dnia gdy Cottard wszedł ze mną do kasyna w Incarville, mimo iż nie podzielałem opinii doktora, Albertyna wydała mi się nie ta sama co wprzód; widok jej drażnił mnie. Ja sam zmieniłem się, w tym samym stopniu w jakim ona zdawała mi się inna. Straciłem dawną życzliwość; w jej obecności, jak i poza oczy, wówczas gdy jej to ktoś mógł powtórzyć, mówiłem o niej w sposób nader przykry. Ale nie zawsze. Pewnego dnia dowiedziałem się, że Albertyna i Anna wybierają się we dwie do Elstira. Nie wątpiłem, że czynią to w tej intencji, aby mogły w powrotnej drodze bawić się jak pensjonarki udawaniem młodych dziewcząt o podejrzanych gustach, znajdując w tem sekretną rozkosz, która mi ścisła serce. Zjawiłem się tedy niespodzianie u Elstira, bez zapowiadania się, aby im pokrzyżować plany i pozbawić Albertynę spodziewanej przyjemności. Ale zastałem tylko Annę. Albertyna wybrała inny dzień, w którym miała być tam z ciotką. Wówczas powiedziałem sobie, że Cottard musiał się omylić; korzystne wrażenie, jakie na mnie zrobiła obecność Anny samej, przez jakiś czas podtrzymywało we mnie przychylniejszy nastrój dla Albertyny. Ale nie trwał on dłużej, niż kruche zdrowie owych delikatnych osób, którym, mimo chwilowego polepszenia, lada co wystarczy aby je znów wpędzić w chorobę.

Albertyna wciągała Annę w owe igraszki, które, nie posuwając się zbyt daleko, nie były może zupełnie niewinne; cierpiąc od tego podejrzenia, odsunąłem je wreszcie. Za ledwie się z niego wyleczyłem, odradzało się w innej formie. Ujrzałem Annę, jak jednym z owych wdzięcznych ruchów, które jej były właściwe, skłoniła pieszczotliwie głowę na ramię Albertyny, ucałowała ją w szyję, nawpół przymykając oczy; to znów wymieniły spojrzenia; albo słówko jakieś wymknęło się komuś, kto je widział same, idące się kąpać; drobnostki nasycające atmosferę, którą większość ludzi oddycha przez cały dzień bez uszczerbku dla zdrowia lub humoru, ale trujące i płodne w nowe cierpienia dla istoty predysponowanej. Czasami, nawet nie widząc Albertyny ani słysząc o niej, odnajdywałem w pamięci jakąś pozę Albertyny w towarzystwie Gizeli; pozę która zrazu wydawała mi się niewinna, teraz zaś wystarczała, aby zniweczyć odzyskany z trudem spokój. Nie potrzebowałem już nawet z zewnątrz wdechać niebezpiecznych zarazków; ulegałem, jakby powiedział Cottard, autointoksykacji. Przypominało mi się wówczas wszystko czegom się dowiedział o miłości Swanna do Odety, o tem jak go Odeta całe życie oszukiwała. W gruncie rzeczy, jeżeli się nad tem zastanowię, hipotezę, która mi kazała pomału zbudować cały charakter Albertyny i interpretować boleśnie każdy moment życia, którego nie mogłem kontrolować w całości, było wspomnienie i świadomość charakteru pani Swann, takiej jaką znałem z opowiadań. Opowiadania te sprawiły, że później wyobraźnia moja snuła domysły, wedle których Albertyna, zamiast być dobrą dziewczyną, mogłaby być równie zepsuta, równie zdolna do oszukiwania jak ex-kokota; i myślałem o wszystkich cierpieniach, jakieby mnie czekały, w razie gdybym ją miał kiedy pokochać.

Pewnego dnia, gdyśmy stali razem przed Grand Hotelem na didze, mówiłem Albertynie przykre i upokarzające rzeczy; na co Rozamonda rzekła: „Och, jakżeś ty się dla niej zmienił; dawniej była tylko ona, ona grała pierwsze skrzypce, a teraz traktujesz ją gorzej psa”.

Aby jeszcze bardziej podkreślić swój stosunek do Albertyny, obsypywałem czułościami Annę, którą — w razie gdyby była dotknięta tą samą przywarą — łatwiej mógłbym usprawiedliwić z powodu jej chorowitej i neuropatycznej kompleksji. Naraz ujrzeliśmy wyjeżdżające truchtem z ulicy prostopadłej do digi dwukonne lando pani de Cambremer. Prezydent, który właśnie zbliżał się do nas, poznawszy powóz, cofnął się gwałtownie, nie chcąc aby go widziano w naszym towarzystwie; poczem, kiedy osądził, że oczy margrabin mogą się spotkać z jego oczami, złożył jej głęboki ukłon. Ale powóz zamiast jechać

dalej (jak można było przypuszczać) ulicą Morską, wjechał w bramę hotelu. Nie upłynęło ani dziesięć minut, kiedy lift-boy przybiegł zdyszany, aby mnie uprzedzić:

— Pani margrabina de Camembert przyjechała do jaśnie pana. Szukałem w pokoju, szukałem w czytelni, nie mogłem znaleźć jaśnie pana. Na szczęście, wpadło mi na myśl wyjrzeć na plażę.

Jeszcze nie skończył swoich wywodów, kiedy margrabina posunęła ku mnie w towarzystwie swojej synowej, oraz jakiegoś bardzo ceremonjalnego pana. Prawdopodobnie wracała z wizyty lub herbatki w sąsiedztwie, uginając się pod ciężarem nietyle starości, ile mnóstwa kosztownych przedmiotów, jakimi uważała za uprzejmiejsze i godniejsze swego stanowiska obwiesić się, aby się wydać możliwie paradna osobom którym składała wizytę. Było to w sumie owe „wylądowanie” Cambremerów, którego tak bardzo obawiała się babka, kiedy chciała zataić przed panem Legrandin, że się może wybierzemy do Balbec. Wówczas mama śmiała się z obaw przed czymś, co uważała za niemożliwe. I oto wreszcie fakt ziścił się, ale innymi drogami, i bez udziału Legrandina.

— Czy mogę zostać, jeżeli to panu nie przeszkadza — spytała Albertyna (w której oczach zostało kilka łez, spowodowanych mojem przykrem obejściem przed chwilą; zauważyłem te łzy, udając że ich nie widzę, ale nie bez satysfakcji); — miałabym coś panu do powiedzenia.

Kapelusz z piórami, w którym tkwiła szpilka z szafirem, zasadzony był ladajak na peruce pani de Cambremer, niby godło którego wywieszenie jest konieczne ale wystarczające, miejsce obojętne, elegancja umowna a nieruchomość zbyt duża. Mimo upału, zacna dama włożyła dżetową mantylkę podobną do dalmatyki, na to zaś gronostajową etolę, której obecność zdawała się mieć związek nie z temperaturą i porą roku, lecz z charakterem ceremonji. A na piersi pani de Cambremer, baranowska korona wisiała na łańcuszku naksztalt biskupiego krzyża. Pan, który jej towarzyszył, to był słynny adwokat paryski, z dobrej rodziny, który przyjechał na trzy dni do państwa de Cambremer. Był to jeden z tych ludzi, którym ich znakomite kwalifikacje zawodowe każą potrosze gardzić własnym zawodem i którzy mówią naprzykład: „Wiem, że jestem dobrym mówcą, toteż już mnie to nie bawi!” albo — „Nie bawi mnie już operować, wiem że dobrze operuję”. Owym ludziom, inteligentnym, *artystom*, dojrzałość ich, hojnie uposażona sukcesem, przynosi blask owej „inteligencji”, owej „artystycznej natury”, którą koledzy w nich uznają i która daje im coś zbliżonego do smaku i sądu. Zapalają się do malarstwa — nie do malarstwa wielkiego artysty, ale artyści bądź co bądź bardzo wybitnego, obracając swoje wielkie dochody czerpane z wykonywanego zawodu na zakupy jego dzieł. Malarz Le Sidaner był wybranym artystą tego przyjaciela Cambremerów, zresztą miłego człowieka. Adwokat mówił inteligentnie o książkach, ale nie o książkach prawdziwych mistrzów, tych co osiągnęli pełnię. Jedyną przykrą wadą tego dyletanta było to, że używał, i to stale, pewnych gotowych zwrotów, naprzykład: „poniekąd”, co dawało rzeczy, o której mówił, coś ważnego i nieupełnego zarazem.

Pani de Cambremer skorzystała — jak mi oznajmiła — z podwieczorku u znajomych w pobliżu, aby mnie odwiedzić, jak to przyrzekła Robertowi de Saint-Loup. „Pan wie, że on ma niedługo zjechać na kilka dni w nasze strony. Wuj jego Charlus jest na wilegaturze u swojej szwagierki, księżnej de Luxembourg; Saint-Loup skorzysta tedy ze sposobności, aby wpaść do ciotki i odwiedzić swój dawny pułk, gdzie go bardzo kochają, bardzo cenią. Często widzimy u siebie oficerów, którzy mówią o nim z ogromnymi pochwałami. Jakby to było ładnie, gdybyście panowie zrobili nam tę przyjemność i przybyli we dwójkę do Féterne”.

Przedstawiłem pani de Cambremer Albertynę i jej przyjaciółki. Pani de Cambremer wymieniła nasze nazwiska swojej synowej. Ta, lodowata ze szlachetkami, z którymi sąsiedztwo Féterne zmuszało ją do stosunków, zazwyczaj tak sztywna z obawy aby się nie spospolitować, podała mi przeciwnie rękę z promiennym uśmiechem, bezpieczna i rozanielona wobec przyjaciela pana de Saint-Loup. Przytem Robert (mający więcej światowej dyplomacji niż się do tego przyznawał) doniósł jej, że jestem bardzo dobrze z Guermantami. Bo pani de Cambremer-młodsza, odmiennie od teściowej, miała dwie grzeczności, niezmiernie różne od siebie. W razie gdybym ją poznał przez jej brata, pana Legrandin, byłaby mi użyczyła conajwyżej pierwszej grzeczności, suchej i nieznośnej. Ale dla przyjaciela Guermantów stawała się całą uśmiechem.

Najwygodniejszym lokalem dla przyjęcia gości była czytelnia, miejsce niegdyś tak groźne, gdzie teraz wchodziłem po dziesięć razy dziennie, wychodząc swobodnie, władczo, jak owi łagodni warjaci, od tak dawna mieszkający w zakładzie, że im lekarz powierza klucz. Toteż zaproponowałem pani de Cambremer, że ją tam zaprowadzę. Że zaś salon ów nie budził już we mnie nieśmiałości i nie przedstawiał dla mnie uroku — fizjognomja rzeczy zmienia się dla nas jak fizjognomja osób — zaproponowałem jej to bez wzruszenia. Ale odmówiła, wołała zostać na dworze; siedliśmy tedy na tarasie. Znalazłem tam tomik pani de Sévigné, którego mama nie zdążyła zabrać w pospiesznej ucieczce, kiedy się dowiedziała, że ktoś przyjechał do mnie. W tej samej mierze co babka obawiała się tych inwazyj obcych ludzi i z obawy że skoro się pozwoli osaczyć, nie zdoła się już wymknąć, uciekała z chyżością, z której zawsze z ojcem żartowaliśmy sobie.

Pani de Cambremer starsza trzymała w ręku, wraz z pastorałem parasolki, kilka haftowanych woreczków, torebkę, złotą sakiewkę, z której zwisały sznury granatów i koronkowa chusteczka. Zdawało mi się, że wygodniej byłoby jej złożyć wszystko na krześle; ale czułem, że byłoby niewłaściwe i daremne prosić, aby odłożyła insygnia swego pasterskiego objazdu i światowego kapłaństwa. Patrzyliśmy na spokojne morze, na którym tu i ówdzie mewy pływały niby białe kwiaty. Z powodu poziomu zwykłej „średniej”, do jakiego nas zniża rozmowa towarzyska jak również chęć podobania się nie zapomocą przymiotów nieznanym nam samym, ale zapomocą tego co (uważamy) powinno być w smak naszym partnerom, instynktownie zacząłem mówić do pani de Cambremer z domu Legrandin w ten sposób, w jakiby to uczynił jej brat. „Mają — rzekłem wskazując mewy — nieruchomości i białość lilij wodnych”. I w istocie, robiły wrażenie martwych przedmiotów kołysanych przez fale, a znowuż przez kontrast fale zdawały się ożywione świadomością, nabierały życia.

Stara margrabina niestrudzenie sławiła wspaniały widok na morze, jaki mieliśmy w Balbec, i zazdrościła mi go, ile że z la Raspelière (gdzie zresztą nie mieszkała w tym roku) widzi fale jedynie z daleka. Miała dwa osobliwe nawyki, wynikające równocześnie z jej żarliwej miłości sztuki (zwłaszcza muzyki) i z niedomagań uzębienia. Za każdym razem kiedy mówiła o Pięknie, jej gruczoły ślinowe — jak u niektórych zwierząt w momencie rui — ulegały hipersekrecji takiej, że w kąciku warg, ocienionych małym wąsikiem, bezzębne usta starej damy przepuszczały parę kropel, nie będących tam na swoim miejscu. Natychmiast polykała je z głębokim westchnieniem, jak ktoś, kto chwyta oddech. Wreszcie, jeżeli chodziło o szczyty muzycznego piękna, w entuzjazmie swoim podnosiła ręce do góry i wygłaszała jakieś ogólnikowe sądy, energicznie przeżute i w potrzebie wychodzące nosem.

Co do mnie, nigdy nie przyszło mi na myśl, aby pospolita plaża w Balbec mogła w istocie przedstawiać „widok morza” i proste słowa pani de Cambremer zmieniały moje pojęcia w tej mierze. Oświadczyłem w zamian, że zawsze słyszałem cuda o nieporównanym widoku w la Raspelière, posiadłości położonej na wzgórzu, gdzie, w wielkim salonie o dwóch kominkach, cały rząd okien pozwala, poprzez ogród i wśród liści, oglądać morze aż poza Balbec, podczas gdy przez drugi rząd okien widzi się dolinę. „Jaki pan jest miły, i jak to dobrze powiedziane: *morze wśród liści*. To czarujące; rzekłoby się... wachlarz”. I po głębokim wdechu, mającym schwycić ślinę i osuszyć wąsy, uczułem, że komplement jest szczerzy. Ale margrabina z domu Legrandin pozostała chłodna, aby tem okazać wzgardę nie dla moich słów, ale dla słów teściowej. Zresztą nietylko gardziła inteligencją teściowej, ale ubolewała nad jej uprzejmością, bojąc się zawsze, że ludzie mogą mieć nie dosyć wysokie pojęcie o Cambremerach. „I jaka ta nazwa ładna — dodałem. Chciałoby się znać pochodzenie wszystkich tych nazw. — Co do tej, mogę ją panu objaśnić — odparła stara dama uprzejmie. To siedziba rodzinna, po mojej babce Arrachepel; to nie jest ród znakomity, ale dobra i bardzo stara rodzina prowincjonalna. — Jakto, nie znakomity? — przerwała sucho synowa. Cały witraż w katedrze w Bayeux pełen jest ich herbów, a główny kościół w Avranches zawiera ich nagrobki. Jeżeli te stare nazwy pana bawią, przybywa pan o rok za późno. Postaraliśmy się o probostwo w Criquetot mimo wszystkich trudności związanych ze zmianą diecezji — dla dziekana z okolicy, w której ja mam swój osobisty majątek ziemski, bardzo daleko stąd, w Combray, gdzie dobry ksiądz bał się popaść w neurastenję. Na nieszczęście, w jego wieku, powietrze morskie nie posłużyło mu, neurastenja się wzmogła, i proboszcz wrócił do Combray. Ale przez czas

gdy był naszym sąsiadem, przetrząsnął tu wszystkie stare papiery i napisał dość ciekawą broszurkę o okolicznych nazwach. To go zresztą rozpało do tego przedmiotu, bo zdaje się, że ostatnie lata poświęcił pisaniu dzieła o Combray i okolicach. Prześlę panu jego broszurę o okolicach Féterne. To praca iście benedyktyńska. Znajdzie pan tam rzeczy bardzo interesujące o naszej starej Raspelière, o której moja teściowa mówi o wiele za skromnie.

— W każdym razie, w tym roku — odparła starsza pani de Cambremer — la Raspelière nie jest już nasza i nie należy do mnie. Ale czuć, że pan ma duszę malarza; powinienby pan rysować: takbym panu chętnie pokazała Féterne, o wiele piękniejsze niż la Raspelière.

Bo, od czasu jak Cambremerowie wynajęli tę posiadłość państwu Verdurin, wspaniałe położenie la Raspelière przestało się im nagle wydawać tem, czem było dla nich przez tyle lat, to znaczy jedyną w okolicy siedzibą mającą widok zarazem na morze i na dolinę; zauważyli w zamian nagle — po czasie — tę niedogodność, że trzeba było wjeżdżać pod górę i zjeżdżać poto aby się tam dostać i wrócić. Krótko mówiąc, możnaby myśleć, że jeżeli pani de Cambremer wynajęła swoją posiadłość, to nie tyle poto aby zwiększyć dochody, ile aby dać odpocząć koniom. I mówiła jaka jest szczęśliwa, że może wreszcie mieć wciąż morze tak blisko w Féterne, ona, która przez tak długi czas (zapominała o dwóch miesiącach spędzonych w Féterne), widziała morze zawsze z góry i jakby w panoramie. „Odkrywam je na starość — mówiła — i tak się tem cieszę! To prawdziwa rozkosz. Wynajęłabym la Raspelière darmo, aby musieć mieszkać w Féterne”.

— Aby wrócić do tematów bardziej interesujących — podjęła siostra Legrandina, która mówiła do starej margrabiny „mamo”, ale z biegiem lat zrobiła się dla niej bardzo niegrzeczna — mówił pan o liljach wodnych; przypuszczam, że pan zna te, które malował Claude Monet. Co za geniusz! Interesuje mnie to tem bardziej, że w pobliżu Combray, w okolicy gdzie, jak panu mówiłam, mam majątek...

Ale wolała nie mówić za wiele o Combray.

— A, to z pewnością cykl, o którym mówił nam Elstir, największy malarz współczesny — wykrzyknęła Albertyna, która dotąd się nie odezwała.

— A, widzę, że pani kocha sztukę — wykrzyknęła pani de Cambremer, która z głębokim westchnieniem wciągnęła strumyk śliny.

— Pozwoli mi pani woleć Le Sidanera — rzekł adwokat, uśmiechając się z miną znawcy. Że zaś cenił, lub wiedział iż ceniono niegdyś pewne „zuchwałstwa” Elstira, dodał: — Elstir był utalentowany, należał niemal do awangardy, ale nie wiem czemu przestał trzymać krok, zmarnował życie.

Pani de Cambremer przyznała słuszność adwokatowi co do Elstira, ale, ku wielkiemu zmartwieniu gościa, zrównała Moneta z Le Sidanerem. Nie można powiedzieć, żeby była głupia; kipiła inteligencją, która — czułem to — była mi całkowicie bezużyteczna. Właśnie słońce zniżało się, mewy były teraz żółte, jak lilje na innem płótnie z tej samej serji Moneta. Rzekłem, iż znam ten cykl i dodałem (wciąż naśladowując język jej brata, którego nazwiska nie śmiałem jeszcze wspomnieć), iż bardzo żałuję, że nie przyszło jej na myśl przyjechać raczej wczoraj, bo o tej samej godzinie byłaby mogła podziwiać istne oświetlenie Poussina. Gdyby jakiś normandzki szlachciura, nieznający Guermantów, powiedział jej że powinna była przyjechać wczoraj, pani de Cambremer-Legrandin wyprostowałaby się z pewnością z obrażoną miną. Ale co się mnie tyczy, mógłbym z nią być o wiele jeszcze poufalszy, i tak znalazłbym w niej jedynie miękka i kwitnącą słodycz; mogłem, w upale tego pięknego popołudnia, kosztować dowoli tego wielkiego kołacza z miodem, jakim pani de Cambremer stawiała się tak rzadko. Kołacz ten zastąpił ptifury, które mi nie przyszło na myśl poczęstować gości. Ale nazwisko *Poussin*, nie uszczuplając grzeczności kobiety światowej, obudziło protest estetyki. Słyszac je, pani de Cambremer powtórzyła na sześć zawodów, prawie tuż po sobie owo lekkie klaśnięcie językiem, jakim wyraża się dziecku, które właśnie zrobiło jakieś głupstwo, zarazem naganę za to co już zrobiło i zakaz na przyszłość:

— Na Boga, po malarzu takim jak Monet, który jest poprostu geniusz, niechże pan nie wymienia starego majstra bez talentu jak Poussin. Powiem wręcz, że on mi się wydaje najtępszą piłą, jaka istniała pod słońcem. Cóż pan chce, ja nie mogę przecież tego nazwać malarstwem. Monet, Degas, Manet, tak, to są malarze! To bardzo ciekawe —



do dała wlepiając badawcze i zachwycone spojrzenie w mglisty punkt przestrzeni, gdzie spozstrzegła własną myśl — to bardzo ciekawe, dawniej wołałam Maneta. Teraz rozumiem się, podziwiam zawsze Maneta, ale sądzę, że może wolę jeszcze od niego Moneta. Och, katedry!

Wkładała tyleż skrupułu co gorliwości w zaznajomienie mnie z ewolucją własnego smaku. I czuć było, że fazy, przez jakie przeszedł ten smak, były wedle niej nie mniej ważne niż różne etapy samego Moneta. Nie miałem zresztą powodu być dumny z tego że mi zwierzyła swoje entuzjazmy, bo nawet wobec najbardziej ograniczonej prowincjonalnej gąski nie wytrwała pięciu minut bez odczucia tej potrzeby. Kiedy jakaś szlachcianka z Avranche, nie zdolna odróżnić Mozarta od Wagnera, mówiła przy pani de Cambremer: „Nie trafiliśmy w Paryżu na żadną interesującą nowość; byliśmy raz w Opéra-Comique, dawano *Pelleasa i Melisandę*, to kropne”, pani de Cambremer nietylko wrzała w duszy, ale musiała wykrzyknąć: „Ależ jakże, to arcydzieło”, i podejmowała dysputę. Był to może nawyk z Combray, przejęty od sióstr mojej babki, które nazywały to: „walczyć za dobrą sprawę” i lubiły obiady, gdzie co tygodnia musiały bronić swoich bogów, przeciw filistynom. Podobnie pani de Cambremer lubiła sobie „popędzać krew” „użerając się” o sztukę, jak inni o politykę. Broniła Debussy’ego, tak jakby broniła przyjaciółki pomawianej o złe prowadzenie się. Musiała przecież rozumieć, że powiadając: „ale jakże, to arcydzieło”, nie może zaimprovizować u osoby, którą przyprowadzała w ten sposób do porządku, całej ewolucji kultury artystycznej, u której szczytu zgodziłyby się z sobą, nie potrzebując dysputować.

— Muszę zapytać Le Sidanera, co on myśli o Poussinie — rzekł adwokat. — To odludek, mruk, ale ja go umiem pociągnąć za język.

— Zresztą — ciągnęła pani de Cambremer — nienawidzę zachodów słońca, to romantyzm, to opera! Dlatego nie cierpię domu teściowej, z jego południowemi roślinami. Zobacz pan, to wygląda jak park w Monte-Carlo. Wolę raczej pańskie wybrzeże. To smutniejsze, szersze; jest tu mała dróżka, skąd się nie widzi morza. W dżdżyste dni, niema tam nic prócz błota — to cały świat! Podobnie w Wenecji nienawidzę *Cana-le Grande*, a nie znam nic bardziej wzruszającego jak małe uliczki. Zresztą, to kwestia atmosfery.

— Ale — rzekłem, czując iż jedynym sposobem zrehabilitowania Poussina w oczach pani de Cambremer jest powiadomić ją, że Poussin stał się znów modny — pan Degas upewnia, że nie zna nic równie pięknego jak Poussiny w Chantilly.

— A? Nie znam Poussinów w Chantilly — rzekła pani de Cambremer, która nie chciała być innego zdania niż Degas — ale mogę mówić o tych co są w Luwrze, istne ohydy.

— On je także niezmiernie podziwia.

— Muszę je obejrzeć jeszcze raz. Wszystko to już zatarło mi się trochę w głowie — odparła po chwili milczenia, tak jakby przychylny sąd, jaki miała z pewnością niebawem wydać o Poussinie, miał zależeć nie od biuletynu, który jej właśnie zakomunikowałem, ale od dodatkowego i tym razem ostatecznego zbadania, jakiemu zamierzała poddać Poussina w Luwrze, aby mieć możliwość skorygowania swego sądu. Zadowolając się tem co było początkiem kasacji (bo, o ile jeszcze nie podziwiała Poussina, odroczyła swój wyrok do drugiej sesji) i nie chcąc dłużej trzymać pani de Cambremer na mękach, zwróciłem się do jej teściowej, powiadając że tylko słyszał o cudownych kwiatach w Fêterne. Skromnie zaczęła mówić o ogródku wiejskim, jaki ma koło domu, dokąd co rano biegnie w szlafroku prosto ze swego pokoju nakarmić pawie, wybierać świeżo zniesione jajka, zrywać cynje lub róże, które okalając na stole jajka na śmietanie lub fryturę z ryb, przypominają jej ulubione aleje w ogrodzie.

— Tak, to prawda, że mamy dużo róż — rzekła — nasze rozarium jest prawie za blisko domu, bywają dni, że głowa mnie boli od zapachu. Przyjemniejszy jest taras w la Raspelière, gdzie wiatr przynosi woń róż, ale już mniej odurzającą.

Zwróciłem się do synowej:

— To cały *Pelleas* — rzekłem, aby zadowolić jej zmysł modernizmu — ten zapach róż, wznoszący się aż na taras. W partyturze jest ten zapach tak silny, że ja, który cierpię na *hay-fever* i na *rose-fever*, kichałem za każdym razem, kiedy słyszałem tę scenę.

— Co za arcydzieło *Pelleas* — wykrzyknęła pani de Cambremer — zwarjowana jestem na tym punkcie; poczem, zbliżając się do mnie z gestami dzikiej kobiety odprawiającej zaloty, wspomagając się palcami aby brać urojone nuty, zaczęła nucić coś, co, jak sądzę, było dla niej pożegnaniem Pelleasa, i ciągnęła z gwałtowną natarczywością, tak jakby rzeczą szczególnej wagi było to, aby mi pani de Cambremer przypomniała w tej chwili tę scenę, lub raczej aby mi dowiodła, że ją sobie przypomina. — Sądzę, że to jest jeszcze piękniejsze niż *Parsival* — dodała; bo w *Parsivalu* największym pięknociom towarzyszy jakaś otęcza fraz melodyjnych, tem samem skoro melodyjnych — mniej wartościowych.

— Wiem, że pani jest wielką artystką — rzekłem do starszej pani de Cambremer. Bardzo bym pragnął usłyszeć panią.

Pani de Cambremer-Legrandin zaczęła patrzeć na morze, aby nie brać udziału w rozmowie. Znajdując że to co lubi jej teściowa nie jest muzyką, uważała talent, urojony wedle niej, a w rzeczywistości bardzo wybitny, jaki przyznawano margrabinie, za wirtuozerję bez głębszej wartości. Prawda, że jedyna żyjąca jeszcze uczenica Chopina twierdziła słusznie, że sposób grania, „czucie” mistrza, przeszły za jej pośrednictwem jedynie w panią de Cambremer, ale grać tak jak Chopin było wątpliwą rekomendacją dla siostry Legrandina, która stawiała polskiego muzyka na najniższym szczeblu artyzmu.

— Och! odlatują — wykrzyknęła Albertyna, pokazując mewy, które, wyzbywając się na chwilę swego kwiatowego incognito, wzbily się wszystkie naraz ku słońcu.

— *Przeszkadzają im chodzić ich skrzydła olbrzymie* — zacytowała pani de Cambremer, myląc mewy z albatrosami.

— Bardzo je lubię, widywałam je w Amsterdamie — rzekła Albertyna. Czują morze, przychodzą oddychać niem nawet poprzez kamienie ulic.

— A, była pani w Holandji, zna pani Ver Meery — spytała apodyktycznie pani de Cambremer, takim tonem, jakby powiedziała: „Zna pani Guermantów”, bo snobizm, zmieniając przedmiot, nie zmienia akcentu. Albertyna odpowiedziała że nie; myślała, że to są jakieś żywe osoby. Ale nie zdradziła się z tem.

— Bardzobym się cieszyła, gdybym mogła zagrać panu — rzekła pani de Cambremer. — Ale pan wie, ja gram tylko rzeczy, które nie interesują już pańskiej generacji. Byłam wychowana w kulcie Chopina — dodała cicho, bo bała się synowej, dla której Chopin nie był muzyką, tem samem grać go dobrze lub źle było określeniem pozbawionem sensu. Uznawała, że teściowa miała technikę, perliste pasaże. „Nikt we mnie nie wmówi, że to jest artystka” — konkludowała pani de Cambremer-Legrandin. Ponieważ uważała się za „awangardzistkę” i głosiła (jedynie w sztuce) że „nigdy dość na lewo”, wyobrażała sobie nietylko że muzyka postępuje ale że postępuję po jednej linii i że Debussy jest rodzajem nad-Wagnera, jeszcze trochę bardziej zaawansowanym niż Wagner. Nie zdawała sobie sprawy, że jeżeli Debussy nie był równie niezawisły od Wagnera jak ona sama miała myśleć za kilka lat (bo zawsze, bądź jak bądź, posługujemy się zdobyta bronią, aby się do reszty wyzwolić od tego kogośmy chwilowo przezwyciężyli), starał się jednak po przesycie, jaki zaczynały rodzić utwory zbyt kompletne, gdzie wszystko jest wyrażone — czynić zadość przeciwnej potrzebie. Teorje, rozumie się, popierały chwilowo tę reakcję; teorje podobne tym, które w polityce usprawiedliwiają ustawy przeciw zakonom, wojny wschodnie (zacołane nauczanie, żółte niebezpieczeństwo etc., etc.). Powiadano, że epoka pośpiechu wymaga sztuki pospiesznej, zupełnie tak, jakby mówiono, że przyszła wojna nie może trwać dłużej niż dwa tygodnie, lub że, wskutek kolei żelaznych, ulegną zaniedbaniu ukochane dylizansom zakątki, których modę wszelako auto miało przywrócić. Zalecano nie męczyć uwagi słuchacza, jakgdybyśmy nie rozporządzali rozmaitemi uwagami, tak iż właśnie od artysty zależy obudzić najwyższe ich sfery. Bo ci, co ziewają ze znużenia po dziesięciu wierszach płaskiego artykułu, odbywali co rok podróż do Bayreuth aby usłyszeć *Tetralogję*. Zresztą miał przyjść dzień, kiedy, na jakiś czas, Debussy'ego miano ogłosić równie płytkim jak Massenet, a podrygi Melizandy zepchnąć do rangi podrygów *Manon*. Bo teorje i szkoły, niby mikroby i ciała krwi, pożerają się wzajem i swoją walką stwarzają ciągłość życia. Ale ów czas jeszcze nie przyszedł.

Jak ze zwyczajki na giełdzie korzysta cała partja walorów, tak pewna ilość autorów korzystała z reakcji, bądź że nie zasługiwali na poprzednie lekceważenie, bądź poprostu że byli wprzód jego przedmiotem, co pozwalało powiedzieć coś nowego, biorąc ich w obronę. I zaczęto nawet poszukiwać w przeszłości paru śmiałych talentów, na których reputację

— zdawałoby się — obecny prąd nie powinienby mieć wpływu, ale których nazwisko jeden z nowych mistrzów wspomniał, podobno życzliwie. Często było to dlatego, że wszelki mistrz, choćby jego szkoła miała być najbardziej ekskluzywna, sądzi wedle swego indywidualnego poczucia, oddaje sprawiedliwość talentowi wszędzie gdzie go spotka, a nawet mniej niż talentowi, jakimś szczęśliwemu natchnieniu, które go ujęło niegdyś, które się wiąże z jakimś lubym momentem jego młodości. Innym razem dlatego, że pewni artyści z innej epoki osiągnęli w prostym utworze coś z tego, co do czego mistrz pomału zdał sobie sprawę że on sam chciał tego dokonać. Wówczas widzi w tym starym artyście jakby prekursora; ceni w nim, w zupełnie innej formie, wysiłek chwilowo i częściowo pokrewny. Są fragmenty Turnera w malarstwie Poussina; rytm Flauberta u Monteskiusza. Czasami zresztą te wieści o kulcie mistrza były wynikiem omyłki, zrodzonej niewiedząco jak i obnoszonej wśród jego wiernych. Wówczas cytowane nazwisko korzysta z firmy, pod której protekcją zjawilo się w dobrej chwili; o ile bowiem wybór mistrza płynie ze swobody i z prawdziwego smaku, o tyle szkoły kierują się już tylko doktryną. W ten sposób, duch, idąc swoim zwykłym biegiem, który posuwa się naprzód zygżakiem, zbaczając to w jednym to w drugim kierunku, skierował światło z góry na pewną ilość dzieł, do których potrzeba bądź sprawiedliwości, bądź odnowy, albo gust Debussy'ego, albo jego kaprys, albo jakieś jego słowa, może nigdy nie powiedziane, dołączyły utwory Chopina. Sławione przez znawców cieszących się powszechnym mirem, korzystając z podziwu, jaki budził *Peleas*, odnalazły one nowy blask, i nawet ci, co ich nie słyszeli na nowo, tak pragnęli je polubić, że czynili to mimo woli, chociaż ze złudzeniem swobody. Ale pani de Cambremer-Legrandin spędzała część roku na prowincji. Nawet w Paryżu, będąc przeważnie chora, dużo przebywała u siebie. Brak ten odbijał się naprawdę zwłaszcza w doborze wyrażań, które się pani de Cambremer wydawały modne, a które byłyby odpowiedniejsze w języku pisanym; odcień, którego nie czuła, bo raczej czerpała te wyrażenia z lektury niż z rozmowy. Rozmowa jest potrzebna nie tyle dla ścisłego poznania poglądów, co dla znajomości nowego słownictwa. Bądź co bądź, to odmłodzenie „nokturnów” nie było jeszcze obwieszczone przez krytykę. Nowina o niem rozeszła się jedynie przez rozmowy „młodych”. Pani de Cambremer-Legrandin nie wiedziała tego. Zrobiłem sobie tę przyjemność, aby ją uświadomić, ale zwracając się z tem do teściowej (jak kiedy na bilardzie, aby dosięgnąć kulę, gra się na bandę), że Chopin nie tylko nie jest niemodny, ale jest ulubionym muzykiem Debussy'ego. „O, to zabawne”, rzekła z porozumiewawczym uśmiechem synowa, tak jakby to był jedynie paradoks rzucony przez autora *Peleasa*. Niemniej było teraz pewne, że będzie już słuchała Chopina z szacunkiem, a nawet z przyjemnością. Toteż moje słowa, wybijając godzinę wyzwolenia dla starej margrabiny, sprowadziły na jej twarz wyraz wdzięczności a zwłaszcza radości. Oczy jej zabłysły jak oczy Latude'a w sztuce pod tytułem *Latude albo trzydzieści pięć lat więzienia*, a pierś jej odetchnęła wiatrem od morza z ową głębią, jaką Beethoven tak dobrze oddał w *Fideliu*, kiedy jeńcy oddychają wreszcie „ożywcem powietrzem”. Co do niej samej, sądziłem, że złoży na moim policzku swoje wąsate wargi. „Jakto, pan lubi Chopina? On lubi Chopina, on lubi Chopina”, wykrzyknęła namiętnie i przez nos, tak jakby powiedział: „Jakto, pan zna także panią de Franquetot?” z tą różnicą, że moje stosunki z panią de Franquetot byłyby jej głęboko obojętne, podczas gdy moja znajomość Chopina wtrąciła ją w rodzaj artystycznej ekstazy. Hipersekrekcja gruczołów ślinowych nie wystarczała już. Nie próbując nawet zrozumieć roli Debussy'ego w odrodzeniu Chopina, uczuła tylko, że mój sąd jest przychylny. Ogarnął ją entuzjazm muzyczny. „Elodjo! Elodjo! on lubi Chopina?” — piersi jej wzdęły się, zatrzepotała rękami. „Och, ja to zaraz uczulam, że pan jest muzyk w duszy — wykrzyknęła. Ja rozumiem, pan, taki hhartysta, że pan to kocha. To takie piękne!” I głos jej stał się tak żwirowaty, jak gdyby, dla wyrażenia zapału dla Chopina, napelniła, wzorem Demostenesa, usta wszystkimi kamykami całej plaży. Wreszcie nastąpił odpływ, sięgając aż do woalki, której margrabina nie miała czasu zabezpieczyć i która zwilgła, poczem margrabina haftowaną chusteczką otarła ślinę, którą zrosiło jej wąsy wspomnienie Chopina.

— Mój Boże — rzekła pani de Cambremer-Legrandin — zdaje mi się, że mama zasiaduje się trochę zbyt długo; zapomina mama, że będziemy dziś mieli na obiedzie wuja de Ch'nouvelle. A przytem Cancan nie lubi czekać.

Cancan pozostał dla mnie niezrozumiały, myślałem, że chodzi może o psa. Ale co się tyczy kuzynów de Ch'nouville, było tak. Z wiekiem osłabła u młodej margrabinie przyjemność, jaką znajdowała w tem aby ich nazwisko wymawiać w ten sposób. A jednak jeżeli niegdyś zdecydowała się na swoje małżeństwo, to dlatego, aby kosztować tej przyjemności. W innych grupach światowych, kiedy mówiono o Chenouville'ach, był zwyczaj poświęcać „*e muet*” z partykuły, przynajmniej za każdym razem kiedy partykułę *de* poprzedzało słowo kończące się samogłoską, w przeciwnym razie bowiem musiało się położyć nacisk na *de*, ile że język sprzeciwia się wymowie *Madam' d' Ch'nonceaux*. Mówiło się: pan d'Chenouville. U Cambremerów tradycja była odmienna, lecz równie despotyczna. W każdym wypadku łykało się nieme *e* nazwiska Chenouville. Czy nazwisko było poprzedzone słowem *mon cousin* czy *ma cousine*, zawsze brzmiało de „Ch'nouville”, a nigdy de Chenouville. (O ojcu tych Chenouville mówiono *notre oncle*, bo mieszkańcy Féterne nie byli na tyle „szykowni”, aby wymawiać „onk”, tak jakby to zrobili Guermantowie, których rozmysłny żargon, znoszący spółgłoski i sfrancuziający obce nazwiska, był równie trudny do zrozumienia jak język starofrancuski lub jakaś nowoczesna gwara). Wszelka osoba wchodząca do rodziny otrzymywała natychmiast w przedmiocie Ch'nouville ostrzeżenie, którego pani Legrandin-Cambremer nie potrzebowała. Jednego dnia, słysząc młodą pannę mówiącą „*ma tante d'Uzai*”, „*mon onk de Rouan*” nie od razu poznała dostojne nazwiska, które przywykła wymawiać *Uzès* i *Rohan*; odczuła zdumienie, zakłopotanie i wstyd człowieka, mającego przed sobą przy stole świeżo wynaleziony przyrząd, którego użytku nie zna i którym nie śmie zacząć jeść. Ale następnego wieczora i nazajutrz powtarzała z zachwytem: „*ma tante d'Uzai*” z owem skasowaniem końcowego *s*, które ją zdumiało wczoraj, ale którego nieznaną wydawała się jej obecnie czemś tak gminnym, że kiedy jedna z przyjaciółek wspomniała coś o portrecie księżnej d'Uzès, panna Legrandin odparła jej cierpko i wyniośle: „Mogłabyś choć wymawiać jak się należy: „*Marne d'Uzai*”. Odtąd rozumiała, że na mocy przemiany materij stałych w elementy coraz to subtelniejsze, znaczny i tak chlubnie nabyty majątek ojca, staranne wychowanie, pilnie słuchane wykłady profesorów Caro i Brunetière, koncerty Lamoureux, wszystko to miało się zmienić w parę, aby znaleźć swoją ostateczną sublimację w rozkoszy mówienia kiedyś: „Ciotka d'Uzai”. Nie przeszkadzało to jej planować zachowania stosunków — przynajmniej w pierwszych czasach małżeństwa — nie z pewnymi przyjaciółkami, które lubiła i które zdecydowała się poświęcić, ale z niektórymi innymi, których nie lubiła a którym chciała móc powiedzieć (skoro poto wyszła za mąż:): „Przedstawię cię ciotce d'Uzai”, kiedy zaś przekonała się że ta zażyłość jest nazbyt trudna: „Przedstawię cię ciotce de Ch'nouville”, albo „zaproszę cię na obiad z memi kuzynami Uzai”. Małżeństwo z panem de Cambremer dostarczyło pannie Legrandin sposobności wymawiania pierwszego z tych zdań, ale nie drugiego, gdyż świat, w którym żyli jej teściowie, nie był tym, który sobie wyobrażała i o którym nie przestała marzyć. Toteż, kiedy powiedziawszy mi o Robercie de Saint-Loup (posługując się przytem wyrażeniem Roberta, o ile bowiem ja, rozmawiając z panią de Cambremer, używałem zwrotów Legrandina, ona, mocą odwrotnej sugestji, odpowiadała mi w dialekcie Roberta, nie wiedząc że ten dialekt przejęty jest od Racheli), zbliżając wielki palec do wskazującego i mrużąc oczy tak jakby oglądała coś nieskończenie delikatnego, co zdołała pochwycić, rzekła: „Ma ładny gatunek inteligencji”, wyśpiewała jego panegiryk z takim zapalem, że można było przypuszczać, iż jest w nim zakochana (utrzymywano zresztą, że niegdyś, w czasach Doncières, Robert był jej kochankiem); w rzeczywistości zaś jedynie poto, abym mu to powtórzył i aby skończyć słowami:

— Pan jest bardzo blisko z księżną Orianą. Ja jestem cierpiąca, prawie nie bywam, a wiem że ona żyje w ścisłym kółku dobranych przyjaciół, co bardzo aprobuję, toteż znam ją raczej mało, ale wiem, że to jest kobieta zupełnie niepospolita.

Wiedząc, że pani de Cambremer ledwo zna księżnę, chcąc się uczynić równie maleńki jak ona, prześlizgnąłem się nad tym tematem i odrzekłem margrabinie, że znałem zwłaszcza jej brata, pana Legrandin. Na to nazwisko przybrała ten sam wymijający ton jakim ja mówiłem o pani de Guermantes, ale z odcieniem niezadowolenia, bo przypuszczała, że ja to mówię poto żeby poniżyć nie siebie lecz ją. Czy ją żarła rozpacz, że jest z domu Legrandin? Tak przynajmniej twierdziły siostry i szwagierki jej męża, szlachcianki z prowincji, nie znające nikogo i nie wiedzące nic, zazdroszczące pani de Cambremer inteligencji,

wykształcenia, majątku i wdzięków, które miała zanim zaczęła chorować. „Ona nie myśli o niczym innym, to ją zabija”, powtarzały na prawo i lewo te żmijki, mówiąc o pani de Cambremer, zwłaszcza zaś mówiąc o niej z „plebejuszem”, bądź aby, o ile był głupi i nadęty, podkreślić całą hańbę braku urodzenia oraz swoją uprzejmość, bądź też, jeżeli był inteligentny i nieśmiały i brał to do siebie, aby mieć przyjemność, mimo iż przyjmując go dobrze, zrobienia mu pośrednio impertynencji. Ale co się tyczy bratowej, te damy myliły się. Pani de Cambremer nie cierpiała wcale nad tem że jest z domu Legrandin, bo prosto zapomniała o tem. Uraziło ją, że jej to przypomniałem, i zamilkła tak jakby mnie nie rozumiała, nie uważając za potrzebne sprawdzać ani potwierdzać moich wspomnień.

— Kuzynostwo nie są główną przyczyną naszego pośpiechu — rzekła starsza pani de Cambremer, która była prawdopodobnie mniej od synowej czuła na przyjemność wymawiania „Ch’nouvelle”. — Ale, aby pana nie męczyć zbyt licznym towarzystwem, nasz gość — rzekła wskazując na adwokata — nie śmiał przyprowadzić tutaj żony i syna. Przechadzają się po plaży czekając na nas i zaczynają się zapewne nudzić.

Kazałem ich sobie dokładnie opisać i pobiegłem ich szukać. Żona miała twarz okrągłą jak niektóre kwiaty z rodziny jaskrowatych i dość duże znamię pod okiem. A że pokolenia ludzi zachowują swoje cechy jak gatunek roślin, ten sam znak, który mógłby pomóc do sklasyfikowania odmiany, wzdymał się pod okiem syna. Moja uprzejmość dla jego rodziny wzruszyła adwokata. Zainteresował się moim pobytem w Balbec. „Musi się pan czuć trochę nieswojo, bo tu są po największej części cudzoziemcy”. Mówiąc tak, przyglądał mi się bystro, bo nie lubiąc cudzoziemców, mimo że miał wśród nich wielu klientów, chciał się upewnić, czy ja nie jestem wrogi jego ksenofobji, w którym-to wypadku wycofałby się, mówiąc: „Oczywiście, pani X może być uroczą kobietą... To kwestja poglądów”. Nie mając w owej epoce żadnej opinji o cudzoziemcach, nie zaprzeczyłem; adwokat uczuł się tedy na bezpiecznym gruncie. Posunął się tak daleko, że mnie zaprosił, abym kiedy przyszedł w Paryżu obejrzeć jego kolekcję Le Sidanera i abym z sobą ściągnął państwa de Cambremer (widocznie uważał mnie za ich bliskiego znajomego). „Zaproszę pana razem z Le Sidanerem — rzekł, przekonany, że ja będę żył odtąd nadzieją tego szczęsnego dnia. Zobacz pan, co to za uroczy człowiek. I jego obrazy zachwycą pana. Rozumie się, że ja nie mogę rywalizować z wielkimi kolekcjonerami, ale sądzę że mam większość jego najlepszych płócien. To pana zainteresuje, zwłaszcza bezpośrednio po Balbec, bo to są motywy morskie, przynajmniej w znacznej części”.

Żona i syn adwokata, obdarzeni roślinną biernością, słuchali z nabożeństwem. Czuć było, że w Paryżu ich dom jest świątynią Le Sidanera. Tego rodzaju świątynie mają swoją użyteczność. Kiedy bożyszczce ma wątpliwości co do samego siebie, łatwo zatyka szczeliny własnej opinji o sobie nie zaprzeczonemi świadectwami istot, które poświęciły życie jego dziełu.

Na znak synowej, pani de Cambremer wstała, mówiąc do mnie:

— Skoro pan nie chce zamieszkać w Féterne, czy pan nie zechciałby choć wpaść któregoś dnia na śniadanie, jutro na przykład?

I w swojej rozlewności, aby mnie skłonić, dodała: „*Odnajdzie* pan hrabiego de Crise-noy”, którego wcale nie zgubiłem, z tej prostej przyczyny że go nie znałem. Stara margrabina zaczynała błyskać przed moimi oczami innymi jeszcze pokusami, ale urwała nagle. Prezydent sądu, który wracając, dowiedział się, że pani de Cambremer jest w hotelu, szukał jej potajemnie wszędzie; później zaczął się i udając że ją spotyka przypadkiem, podszedł aby się przywitać. Zrozumiałem, że pani de Cambremer nie ma zamiaru obejmować prezydenta zaproszeniem. Znał ją wszakże o wiele dłużej niż ja, będąc od wielu lat stałym gościem podwieczorków w Féterne, których mu tak zazdrościłem za pierwszego pobytu. Ale dawność nie jest wszystkim dla ludzi światowych. Chętniej chowają swoje śniadania dla nowych znajomych, podniecających jeszcze ich ciekawość, zwłaszcza kiedy ich poprzedza przemożna i ciepła rekomendacja, jak w tym wypadku Roberta de Saint-Loup. Pani de Cambremer przyjęła ze pewnością, że prezydent nie słyszał jej słów zwróconych do mnie; ale, aby uśmierzyć swoje wyrzuty, była dlań nadzwyczaj uprzejma.

W blasku, który topił na horyzoncie pożłociste, zazwyczaj niewidoczne wybrzeże Rivelle, rozpoznaliśmy, ledwie oderwane od promiennego lazuru, wstające z wód różowe, srebrne, nieuchwytnie dzwonki, dzwoniące na Anioł Pański w pobliżu Féterne. — To jest także dosyć „Peleas” — rzekłem do pani de Cambremer-Legrandin. Wie pani

scenę, o której myślę. — Rozumie się, że wiem — odparła; — ale „wcale nie wiem” mówiły jej głos i jej twarz, nie dostrojone do żadnego wspomnienia, jak i uśmiech zawisły w powietrzu. Starsza dama nie mogła się uspokoić, że dzwonki słychać aż tutaj, i wstała przypomniawszy sobie że jest już późno.

— W istocie — rzekłem — zazwyczaj z Balbec nie widzi się tego wybrzeża i nie słyszy się go również. Musiała się pogoda odmienić i w dwójnasób poszerzyć horyzont. Chyba że te dzwonki przychodzą tu po panie, bo widzę że skłaniają panie do odjazdu, są dla pań dzwonkiem obiadowym.

Prezydent, mało wrażliwy na dzwony, patrzył ukradkiem na digę, zrozpaczony że tego wieczora jest tak wyludniona.

— Jest pan prawdziwy poeta — rzekła do mnie pani de Cambremer. — Czuć w panu coś tak wibrującego, tak artystycznego; niech pan przyjedzie, zagram panu Chopina — dodała, podnosząc ręce w ekstazie i mówiąc chrapliwym głosem, jakby ktoś przesypanywał żwir. Potem nastąpiło połknięcie śliny i stara dama instynktownie otarła chustką lekką szczołeczkę swoich amerykańskich wąsików. Prezydent oddał mi niechcący wielką przysługę, biorąc margrabinę pod ramię, aby ją zaprowadzić do powozu, z pewną dozą rubasności, śmiałości i ostentacji, dyktującą mu wzięcie, na które nie odważyliby się inni, a które w wielkim świecie bywa dość mile widziane. Był zresztą, od tylu lat, o wiele bardziej obyty odemnie. Błogosławiąc go, nie śmiałem go naśladować i siedłem obok pani de Cambremer-Legrain; zapragnęła obejrzeć książkę, którą trzymałem. Widząc nazwisko pani de Sévigné, skrzywiła się; zaczęła, posługując się słowem wyczytanem w pewnych dziennikach, ale które, użyte w tej kombinacji, w zastosowaniu do pisarza z XVII wieku, robiło dziwne wrażenie, spytała: — Czy pan naprawdę uważa, że to jest ktoś? — Margrabina dała lokajowi adres cukierni, dokąd miała wstąpić, zanim ruszyli drogą różową od wieczornego kurzu, w którym błękitniały niby zady końskie wybrzuzszenia skał. Spytała starego stangreta, czy jeden koń, skłonny do przebiegów jest ciepło okryty, czy podkova drugiego nie uwiera. „Napiszę do pana w sprawie o którejśmymy mówili — rzekła półgłosem. Widziałam, że pan rozmawiał o literaturze z synową, ona jest urocza” — dodała, mimo że nie myślała tego, ale przywykła i zachowała przez dobroć to przyzwyczajenie — mówić to, aby nie wyglądało, że jej syn ożenił się dla pieniędzy. „A przytem — dodała margrabina entuzjastycznie żując te ostatnie słowa — ona jest taka hhhartystka!” Poczem wsiadła do powozu, kiwając głową, podnosząc pastorał parasolki, i ruszyła przez ulice Balbec, przeciążona ornamentami swego kapłaństwa, niby stary biskup na objeździe pasterskim.

— Zaprosiła pana na śniadanie — rzekł do mnie surowo prezydent, kiedy powóz się oddalił a ja wracałem w dziewczętami. Jesteśmy z sobą trochę chłodno. Ona uważa, że ja ją zaniedbuję. Ba, ja jestem człowiek łatwy w pożyciu. Kiedy mnie ktoś potrzebuje, zawsze jestem gotów stanąć do apelu. Ale oni chcieli wziąć mnie za łeb. Och, wówczas — dodał z wielką mówiącą miną, podnosząc palec jak ktoś kto waży każde słowo — hola, to nie ze mną. Tęby był zamach na swobodę moich wywczasów. Musiałem powiedzieć: „Stop!” Pan jest, zdaje się, z nią bardzo dobrze. Kiedy pan będziesz w moim wieku, zobaczysz pan, że świat, to bardzo niewiele, i będziesz żałował, żeś przywiązywał tyle wagi do tych głupstw. No, idę się trochę przejść przed obiadem. Bywajcie, dzieci — krzyknął, tak jakby już był o pięćdziesiąt kroków.

Kiedym się pożegnał z Rozamondą i z Gizelą, ujrzały ze zdziwieniem, że Albertyna zatrzymała się i nie idzie z niemi. — Albertyno, co ty tam robisz, wiesz która jest godzina? — Wracajcie — odrzekła z powagą. — Ja mam do pomówienia z nim — dodała, wskazując na mnie z pokorną miną. Rozamonda i Gizela popatrzały na mnie, jakby zdjęte nowym szacunkiem. Cieszyłem się świadomością, że bodaj na chwilę jestem, w obecności Rozamondy i Gizeli, czemś ważniejszym dla Albertyny, niż godzina powrotu, niż przyjaciółki, i że mogę nawet mieć z nią ważne sekrety, w które niepodobna byłoby ich wtajemniczyć. — Czy nie ujrzymy cię dziś wieczór? — Nie wiem, to będzie zależało od niego. W każdym razie, do jutra.

— Chodźmy do mojego pokoju — rzekłem, kiedy się przyjaciółki oddaliły. Wsiadliśmy do windy, Albertyna zachowała przy lift-boyu milczenie. Konieczność uciekania się do osobistej obserwacji i do dedukcji, aby poznać drobne sprawy „państwa”, owych szczególnych ludzi, którzy rozmawiają między sobą a nie mówią do nich, rozwija u „pra-

owników” (jak *lift* nazywał służbę) większą zdolność odgadywania myśli niż u „pryncypałów”. Narządy zanikają albo stają się silniejsze lub subtelniejsze wedle tego czy ich potrzeba rośnie lub maleje. Od czasu jak istnieją koleje żelazne, obawa spóźnienia się na pociąg nauczyła nas liczyć się z minutami, gdy u dawnych Rzymian, u których nietylko astronomia była mniej dokładna ale życie mniej pospieszne, pojęcie już nie minut, ale nawet stałych godzin zaledwie że istniało. Toteż *lift* zrozumiał (i myślał opowiedzieć to swoim kolegom), żeśmy byli oboje z Albertyną mocno zaabsorbowani. Ale mówił do nas bez przerwy, bo zbywało mu taktu. Równocześnie widziałem na jego twarzy, w miejsce zwykłych oznak sympatii i radości że mnie wiezie windą, wyraz niezwyklego przygnębienia i niepokoju. Ponieważ nie znałem przyczyny, tedy, chcąc go wyrwać z tego nastroju (mimo że bardziej zajęty byłem Albertyną), pouczyłem go, że dama, która właśnie odjechała, nazywa się margrabina de Cambremer a nie Camembert. Na piętrze które mijaliśmy w tej chwili, spostrzegłem niosącą wałek do łóżka szpetną pokojówkę, która mi się ukloniła z szacunkiem, w nadziei napiwku przy odjeździe. Byłbym rad wiedzieć, czy to jest ta, której tak pragnąłem w ów pierwszy wieczór w Balbec; ale nigdy nie mogłem się dowiedzieć na pewno. *Lift* przysiągł mi, że zwykłą szczerością fałszywych świadków, ale nie porzucając stroskanej miny, że jednak margrabina podała nazwisko Camembert. I prawdę mówiąc, dość naturalne było, że on usłyszał nazwisko już mu znane. Ponieważ zarazem miał o szlacheństwie i o charakterze nazw z których się tworzą tytuły, pojęcia bardzo mętne, wspólne wielu osobom nawet będącym czemś więcej niż chłopiec od windy, nazwisko Camembert wydało mu się tem prawdopodobniejsze; ten ser jest powszechnie znany, nie było tedy nic dziwnego, że związane margrabstwo z tak zaszczytną sławą — o ile nie margrabstwo użyczyło sławy serowi. Mimo to, ponieważ widział że ja nie chcę wyglądać na człowieka który się omylił i ponieważ wiedział że panowie lubią aby słuchano ich najbliższych kaprysów i przyjmowano ich najoczywistsze kłamstwa, przyrzekł mi, jako dobry sługa, mówić na przyszłość *Cambremer*. Prawda, że żaden kupiec w mieście, ani żaden wieśniak w okolicy, gdzie nazwisko i osoba Cambremerów były doskonale znane, nie mogliby podzielić omyłki tego *lift*-boya. Ale personel *Grand-Hotel de Balbec* nie składał się bynajmniej z tubylców. Przybywał w prostej linii, wraz z całym materiałem, z Biarritz, z Nizy i z Monte-Carlo, przyczem jedną część kierowano do Deauville, drugą do Dinard, a trzecią zachowywano dla Balbec.

Ale bolesny niepokój *lift*-boya rósł. Na to aby zapomniał objawiać mi swoje oddanie zwykłymi uśmiechami, musiało mu się wydarzyć jakieś nieszczęście. Może go oddalono? W takim wypadku przyrzekłem sobie postarać się aby go zatrzymano, bo dyrektor obiecał mi ratyfikować wszystko co postanowię w sprawie personelu. „Może pan robić co pan zechce, rektyfikuję to zgóry”. Naraz, kiedy miał wysiąść, zrozumiałem rozpacz, przybitą minę chłopca. Wskutek obecności Albertyny, nie dałem mu pięciu franków, które wręczałem mu zwykle, wsiadając do windy. I ten głuptas, zamiast zrozumieć że ja nie chcę przy trzeciej osobie popisywać się napiwkami, zaczął drżeć, przypuszczając, że to już skończone raz na zawsze, że już mu nie dam nigdy nic. Wyobrażał sobie, że popadłem w „mizerję” (jakby powiedział książę Błażej), i to przypuszczenie nie budziło w nim żadnego współczucia dla mnie, ale straszliwy samolubny zawód. Pomyślałem, że byłem mniej niedorzeczny niż uważała matka, kiedy pewnego dnia nie śmiałem cofnąć przesadnie wygórowanej ale gorączkowo oczekiwanej sumy, jaką mu dałem dnia poprzedniego. Zarazem sens, przypisywany dotąd przezemnie (i bez żadnej wątpliwości) stale rozradowanej minie, w której nie wahałem się dojrzeć oznak przywiązania, wydał mi się mniej pewny. Widząc windziarza, gotowego w swojej rozpaczyci rzucić się z piątego piętra, zastanawiałem się, gdyby układ naszych warunków społecznych się zmienił (naprzykład w razie rewolucji), czy zamiast grzecznie dla mnie manewrować windą, *lift*, stawszy się burżujem, nie zrzuciłby mnie z niej, i czy w pewnych klasach nie ma więcej fałszu niż w wielkim świecie, gdzie niewątpliwie chowa się na chwilę naszej nieobecności ujemne sądy o nas, ale gdzie, w razie gdybyśmy popadli w nieszczęście, stosunek do nas nie byłby obelżywy.

Nie można wszelako powiedzieć, aby w całym hotelu w Balbec ten windziarz był najbardziej interesowny. Z tego punktu widzenia personel dzielił się na dwie kategorie; z jednej strony ci, co czynili różnicę między gośćmi, czulsi na umiarkowany napiwek starego szlachcica (zdolnego zresztą zwolnić ich od ćwiczeń wojskowych, dzięki poleceniu

do generała de Beautreillis) niż na przesadną hojność jakiegoś niebieskiego ptaka, zdradzającego tą hojnością brak obycia, który jedynie w jego obecności zwał się „dobrocią”; z drugiej strony ci, dla których szlachectwo, inteligencja, sława, sytuacja, wzięcie, nie istniało — znali jedynie cyfrę. Dla tych istniała tylko jedna hierarchia; pieniądze, które ktoś ma, lub raczej które daje. Może i sam Aimé, mimo iż pretendując — dla wielkiej ilości hotelów w których służywał — do wielkoświatowego obycia, należał do tej kategorii. Co najwyżej zabarwiał on ten typ oceny orientacją socjalną i genealogiczną; gdy naprzykład o księżnej de Luxembourg mówił: „Czy tam jest dużo pieniędzy?” pytajnik ten miał na celu osiągnięcie lub definitywne sprawdzenie informacji, zanim sprokurował klientowi kuchmistrza do Paryża, lub zanim mu zapewnił w Balbec stolik na lewo, przy wejściu, z widokiem na morze. Bądź co bądź, Aimé, nie pozbawiony interesowności, nie byłby jej zdradził głupią rozpaczą jak ów lift-boy.

Zresztą, naiwność chłopca upraszczała może sytuację. To jest wygoda wielkiego hotelu lub zakładu takiego jak ten w którym niegdyś praktykowała Rachel, że bez przejść, na lodowatej dotąd twarzy służącego lub kobiety, widok stufrankówki — tem bardziej tysiącfrankówki — nawet ewentualnie danej komuś innemu, wywołuje uśmiech i gotowość do usług. Naodwrot w polityce, w stosunkach między kochankami, istnieje zbyt wiele rzeczy między pieniądzem a usługą. Tyle, że nawet ci, u których pieniądz budzi w końcu uśmiech, często nie zdolni śledzić wewnętrznego procesu który te rzeczy łączy, uważają się za drażliwszych, stają się drażliwsi. I z tych ceremonij destylują się w końcu formuły: „Wiem, co mi pozostaje uczynić, jutro znajdę mego trupa”. Toteż w eleganckim towarzystwie mało spotyka się powieściopisarzy, poetów, wszystkich tych wspaniałych istot, mówiących właśnie o tem o czem nie należy mówić.

Skorośmy zostali sami i weszli w korytarz, Albertyna rzekła: „Co ty masz przeciwko mnie?” Czy moja brutalność wobec niej była przykra mnie samemu? Może była z mojej strony jedynie nieświadomym podstępem, mającym doprowadzić Albertynę do tej wylęklej i błagalnej postawy, któraby mi pozwoliła poddać ją śledztwu, a może dowiedzieć się, która z moich dwóch oddawna stworzonych hipotez jest prawdziwa. Bądź co bądź, kiedym usłyszał jej pytanie, uczulem nagły przyływ szczęścia, jak ktoś, kto osiąga oddawna upragnionego celu. Zanim jej odpowiedziałem, doprowadziłem ją aż do drzwi. Otwierając, spowodowałem odpływ różowego światła które wypełniało pokój i biały muślin firanek rozpiętych na wieczorze zmieniało w połyskującą materję koloru jutrzeńki. Podszedłem do okna, mewy znów siedziały na falach, ale teraz były różowe. Pokazałem je Albertynie. „Nie odwracaj rozmowy — rzekła — bądź szczery jak ja”. Skłamałem. Oświadczyłem, że wprzód musi wysłuchać wyznania, wyznania wielkiej miłości jaką żywię od dłuższego czasu do Anny; i dokonałem tego wyznania z prostotą i szczerością godną wielkiego aktora, taką jaką się ma w życiu wyłącznie niemal dla wyrażenia miłości której się nie czuje. Powtarzając kłamstwo, do jakiego się uciekłem z Gilbertą przed pierwszym Balbec, ale odmieniając je nieco, aby tem pewniej przekonać Albertynę o tem że jej nie kocham, posunąłem się do zwierzenia, że niegdyś omal się w niej nie zakochałem, ale że za wiele czasu minęło, że teraz jest już dla mnie tylko dobrym kolegą, i że choćbym chciał, nie umiałbym już wskrzesić w sobie gorętszych dla niej uczuć. Zresztą, upewniając z naciskiem Albertynę o swoim chłodzie, podkreślałem jedynie wyraźniej — z powodu specjalnej okoliczności i dla specjalnego celu — i zaznaczałem silniej ów dwosty rytm, jaki przybiera miłość u wszystkich tych, którzy zbyt mało ufają sobie na to by wierzyć że kobieta mogłaby ich kiedy pokochać, a także aby oni sami mogli pokochać prawdziwie. Znają siebie samych na tyle, aby wiedzieć, że przy najróżniejszych kobietach doznawali tych samych nadziei, tych samych lęków, wymyślali te same romanse, wymawiali te same słowa; zarazem zdają sobie sprawę, że ich uczucia i postęпки nie są w ścisłym i koniecznym związku z ukochaną kobietą, ale przechodzą obok niej, obryzgują ją, opływają ją tak jak fala oblewa skały, a uczucie własnej niestałości zwiększa w nich jeszcze niewiarę w miłość tej kobiety, której miłości takby pragnęli. Skoro ona jest tylko prostym przypadkiem który się znalazł w sferze naszych pragnień, czemu przypadek miałby sprawić abyśmy wzajem byli celem jej pragnień? Toteż, odczuwając potrzebę wylania na nią wszystkich uczuć, tak różnych od uczuć poprostu ludzkich jakie budzi w nas bliźni, tych uczuć tak swoistych jakimi są uczucia miłosne, uczyniwszy krok naprzód, wyznając tej którą kochamy naszą tkliwość, nasze nadzieje, tuż potem, lękając się ją zra-



zić, zawstydzeni też poczuciem że język jakim do niej mówimy nie zrodził się umyślnie dla niej, że już nam służył i będzie służył dla innych, że o ile ona nas nie kocha, nie może nas zrozumieć i w takim razie mówiliśmy z brakiem smaku i bezwstydem pedanta produkującego wobec nieuków niedostępne im subtelności, ta obawa, ten wstyd, sprowadzają ów kontr-rytm, odpływ, potrzebę podjęcia znów ofensywy — choćby cofając się wstecz, odbierając gwałtownie uprzednio wyznaną sympatię — potrzebę odzyskania szacunku, władzy; podwójny rytm przejawia się w rozmaitych okresach tej samej miłości, we wszystkich analogicznych okresach miłości pokrewnych sobie, u wszystkich istot, które się bardziej analizują niż cenią. Ale jeżeli ów rytm był nieco silniej zaakcentowany niż bywa zazwyczaj w rozmowie takiej jak obecna moja z Albertyną, to poprostu dlatego, aby mi pozwolić szybciej i energiczniej przejść do przeciwnego rytmu, któryby skandowała moja czułość.

Jakgdyby Albertynie było trudno uwierzyć w to com mówił o mojej niemożności pokochania jej na nowo z powodu zbyt długiej przerwy, popierałem to, com nazywał dziwactwem swego charakteru, przykładami zaczerpniętymi z osób, z którymi, z ich czy ze swojej winy, przepuściłem godzinę zakochania się, nie mogąc, mimo najszerszej chęci, odnaleźć jej później. Robiło to wrażenie równocześnie że się tłumaczę — niby z niegrzeczności — z tej niezdolności pokochania Albertyny na nowo, i że się jej staram uprzytomnić psychologiczne racje tego, jakby swoiste dla mnie. Ale tłumacząc się w ten sposób, omawiając obszernie stosunek z Gilbertą, z którą było w istocie ścisłą prawdą to, co było tak mało podobne do prawdy w stosunku do Albertyny, czyniłem jedynie swoje zapewnienia w równym stopniu prawdopodobnymi, w jakim udawałem iż powątpiewam o ich prawdopodobieństwie. Czując iż Albertyna ocenia to, co uważała za moją „otwartość” i uznaje oczywistość moich wywodów, przeproszałem ją za ową otwartość, mówiąc że wiem iż człowiek zawsze jest niemły kiedy mówi prawdę i że ta prawda musi się jej zresztą wydawać niezrozumiała. Podziękowała mi przeciwnie za szczerość i dodała, że doskonale rozumie tak częsty i naturalny stan ducha.

Uczyniwszy to wyznanie urojonych uczuć dla Anny, obojętności zaś dla Albertyny, aby się wydać całkiem szczerym i naturalnym, upewniłem ją nawiasem, jakby przez grzeczność, że nie należy tej obojętności brać zbyt dosłownie; poczem mogłem wreszcie, bez obawy zdradzenia Albertynie mojej miłości, mówić do niej ze słodyczą, której wzbraniałem sobie od tak dawna. To było rozkoszne. Niemal pieściłem swoją powiernicę; kiedyś jej mówił o tej którą rzekomo kochałem, lzy nabiegały mi do oczu. Ale przechodząc do faktu, powiedziałem wreszcie Albertynie, że wie co to jest miłość, jej podejrzliwości, cierpienia, i że, jako mojej dawnej przyjaciółce, zależałoby jej może na tem, aby położyć koniec zgrzyzotom jakie mi sprawia, nie wprost, skoro nie ją kocham (o ile mi to wolno powtórzyć bez urażenia jej), ale pośrednio, godząc w moją miłość do Anny. Przerwałem, aby podziwiać i pokazać Albertynie wielkiego samotnego i spieszącego się ptaka, który w oddali, smagając powietrze regularnem biciem skrzydeł, leciał z całą chyżością ponad plażą upstrzoną blaskami podobnymi do podartych kawałeczków czerwonego papieru, i przebywał ją nie zwalniając lotu, nie odwracając uwagi, nie zbaczając z drogi, niby wysłannik niosący bardzo daleko pilne i ważne zlecenie. „On przynajmniej idzie prosto do celu!” rzekła Albertyna z akcentem wyrzutu.

— Mówisz tak, bo nie wiesz, cobym ci chciał powiedzieć. Ale to jest takie trudne, że wolę raczej poniechać tego; jestem pewien, żebyś się pogniewała; wówczas zyskam tylko tyle że się w niczem nie zbliżę do szczęścia z tą którą kocham, a stracę dobrą przyjaciółkę.

— Ale skoro ci przysięgam, że się nie pogniewam.

Miała minę tak słodką, tak smutno uległą i oczekującą odemnie szczęścia, że ledwo mogłem się wstrzymać aby nie ucałować — z tym samym prawie rodzajem przyjemności, jaki miałbym całując matkę — tej nowej twarzy, nie wabiącej już ożywioną i zarumienioną minką krnąbrnej i przewrotnej kotki o różowym i zadartym nosku, ale uderzającej pełnią przygnębienia i smutku, rozplywającą się szerokimi falami dobroci. Patrząc na Albertynę w oderwaniu od swojej miłości, jako od chronicznego szaleństwa nie mającego z nią związku, stawiając się na jej miejscu, z rozczuleniem patrzyłem na tę pocziwą dziewczynę, nawykłą do tego aby z nią postępowano przyjaźnie i lojalnie, a którą ja, ów dobry kolega jakiego miała prawo się we mnie spodziewać, dręczyłem od całych tygodni, dochodząc w tem wreszcie szczytu. I przez to że brałem rzeczy z czysto ludzkiego

punktu, będącego poza nami dwojgiem i w którym moja zazdrosna miłość znikła, czułem głęboką litość, która byłaby mniej głęboka, gdybym nie kochał Albertyny. Zresztą, w rytmicznej oscylacji, wiodącej od wyznań do kłótni (najpewniejszy, najskuteczniej niebezpieczny sposób, aby, zapomocą sprzecznych i kolejnych poruszeń, stworzyć węzeł nie do rozwiązania, wiążący nas trwale z jakąś osobą), we wstępnym ruchu stanowiącym jeden z dwóch elementów rytmu, poco rozróżnić jeszcze odpływy ludzkiego współczucia, które, przeciwstawione miłości, mimo że mające może nieświadomie tę samą przyczynę, wydaje w każdym razie te same skutki? Przypominając sobie później wszystko cośmy zrobili dla kobiety, zdajemy sobie często sprawę, że postęпки natchnione chęcią okazania że się kocha, zyskania miłości, zdobycia jej dowodów, zajmują bodaj że nie więcej miejsca niż postęпки wynikłe z ludzkiej potrzeby naprawienia win względem ukochanej istoty, przez prosty moralny obowiązek, tak jakby się jej nie kochało.

„Ale, ostatecznie, co ja takiego zrobiłam?” pytała Albertyna. Zapukał ktoś, to był chłopiec od windy; ciotka Albertyny, przejeżdżając koło hotelu, zatrzymała się na wszelki wypadek, aby zobaczyć czy jej niema i zabrać ją. Albertyna kazała powiedzieć, że nie może zejść, żeby siadano do stołu nie czekając na nią; nie wie, o której wróci. „Ale ciotka się pogniewa? — Cóż znowu! Zrozumie wybornie”. Tak więc — w tej chwili przynajmniej, chwili która się może nie powtórzy — rozmowa ze mną stawała się dla Albertyny czemś tak oczywiście ważnym, że przesłaniała wszystko inne. Co więcej, Albertyna — z pewnością instynktownie streszczając kanony familijnego kodeksu, przypominając sobie okoliczności, w których, kiedy karjera pana Bontemps była w grze, nie żalowano na jakąś podróż — nie wątpiła, że to pogwałcenie godziny obiadu wyda się ciotce całkiem naturalne. Tę odległą godzinę, którą spędzała bezemnie, wśród swoich, Albertyna zbliżyła do mnie, oddawała mi ją: mogłem nią rozporządzać.

Odważyłem się wreszcie zwierzyć Albertynie, co mi mówiono o jej sposobie życia. Mimo głębokiego wstrętu (rzekłem), jaki we mnie budzą kobiety dotknięte tą przywarą, nie troszczyłem się o to, aż do chwili gdy mi wymieniono jej współniczkę; wobec mojej miłości do Anny, może pojąć, jaki mi to ból sprawiło! Byłoby może zręcznie powiedzieć, że mi cytowano również inne kobiety, które mi były obojętne. Ale nagle i straszliwa rewelacja, zawarta w słowach profesora Cottard, wniknęła we mnie aby mnie rozedrzeć, całkowicie, ale nic poza nią. I tak jak przedtem, gdyby Cottard nie zwrócił mi uwagi na ich sposób tańczenia walca, nigdy samo z siebie nie przyszłoby mi na myśl, że Albertyna mogłaby kochać Annę, lub bodaj mogłaby się z nią oddawać pieszczotom, tak samo nie umiałem przejść od tej myśli do innej — dla mnie tak różnej — że Albertyna mogłaby mieć, poza Anną, z innymi kobietami stosunki, nawet nie usprawiedliwione miłością. Albertyna — zanim mi jeszcze przysięgła że to nieprawda — objawiła — jak każda osoba która się dowie że coś takiego o niej mówiono — gniew, zmartwienie, w stosunku zaś do nieznanego oszczercy zajadłą ciekawość dowiedzenia się kto to taki, oraz chęć konfrontacji z nim, aby go móc pognać. Ale upewniła mnie, że — do mnie przynajmniej — nie ma żalu: „Gdyby to była prawda, przyznałabym się. Ale obie z Anną mamy jednaki wstręt do takich rzeczy. Oczywiście, że w naszym wieku zdarzało się nam spotkać kobiety z krótkimi włosami, z męskim wzięciem i skłonnościami takimi jak mówisz; otóż nic nas tak nie brzydzi”. Albertyna dawała mi tylko swoje słowo, słowo stanowcze, choć nie poparte dowodami. Ale to właśnie mogło mnie najlepiej uspokoić; zazdrość bowiem jest z rodziny owych chorobliwych wątpliwości, które o wiele skuteczniej leczy energia zapewnienia, niż ich prawdopodobieństwo. Cechą zresztą miłości jest, że czyni nas równocześnie nieufniejszymi i łatwowierniejszymi; każe nam podejrzewać — łatwiej niż każdą inną — kobietę którą kochamy, i także łatwiej uwierzyć jej przeczeniom. Trzeba kochać, aby się dręczyć tem że istnieją nietylko uczciwe kobiety, to znaczy aby to spostrzec; i trzeba kochać, aby pragnąć ich istnienia, czyli uwierzyć w ich istnienie. Ludzką rzeczą jest szukać bólu i natychmiast się z niego wyzwalać. Słowa zdolne to osiągnąć łatwo wydają się nam prawdą; nie mędrkuje się nad kojącym środkiem który działa. A potem, choćby istota, którą kochamy, była najbardziej złożona, może bądź co bądź ujawnić nam dwie zasadnicze osobowości, zależnie od tego, czy się nam objawi jako nasza, czy jako zwracająca swoje pragnienia w inną stronę. Pierwsza z tych osobowości posiada swoistą władzę, nie pozwalającą nam wierzyć w realność drugiej, specyficzny sekret kojenia cierpień, jakie ta druga sprawiła. Ukochana istota jest kolejno chorobą i lekiem, który usuwa

i pogarsza chorobę. Bez wątpienia, oddawna, siłą wpływu jaki przykład Swanna wywierał na moją wyobraźnię i zdolność czucia, byłem przygotowany do wierzenia w to czegom się lękał, raczej niż w to czegobym pragnął. Toteż fakt że sobie przypomniał historię Odety omal nie udaremnił słodczy słów Albertyny. Ale powiedziałem sobie, że o ile słuszne jest wziąć w rachubę to co najgorsze — nie tylko wtedy, kiedy, aby zrozumieć cierpienia Swanna, próbowałem się postawić na jego miejscu, ale teraz kiedy chodziło o mnie samego, i dociekając prawdy tak jakby chodziło o kogo innego — nie należy jednak, przez okrucieństwo dla samego siebie — niby żołnierz, któryby obrał posterunek nie najużyteczniejszy ale najniebezpieczniejszy — popełniać tego błędu, aby uważać jakąś hipotezę za prawdziwszą od innych, jedynie dlatego że jest najboleśniejsza. Czyż nie istniała przepaść między Albertyną, młodą dziewczyną z niezłej mieszczańskiej rodziny, a Odetą, kokotą sprzedaną dzieckiem przez własną matkę? Niepodobna słowa jednej porównywać ze słowem drugiej. Zresztą Albertyna nie miała tego interesu okłamywania mnie, jaki miała Odeta w stosunku do Swanna. A wreszcie Odeta wyznała Swannowi to, czemu Albertyna właśnie zaprzeczyła! Nie biorąc tedy w rachubę owych różnic faktycznych i odtwarzając istotne życie Albertyny jedynie wedle tego com wiedział o życiu Odety, zrobiłbym błąd logiczny, równie poważny — mimo że odwrotny — jak ów, któryby mnie skłonił do jakiejś hipotezy, dlatego że byłaby mi mniej bolesna. Miałem przed sobą nową Albertynę, widzianą już coprawda kilka razy pod koniec pierwszego pobytu w Balbec, szczerą, dobrą, Albertynę, która przez przywiązanie do mnie przebacza mi podejrzenia i stara się je rozprószyć. Posadziła mnie obok siebie na łóżku. Podziękowałem jej za to co mi powiedziała; upewniłem, że już między nami zgoda i że nigdy nie będę dla niej niedobry. Powiedziałem, że jednak powinna wracać na obiad. Spytała, czy mi nie dobrze tak. Przyciągając moją głowę, w pieszczocie, której mi używała poraz pierwszy i którą zawdzięczałem może naszej minionej zwadzie, przeciągnęła lekko język po moich wargach, starając się je rozchylić. Na początek nie rozwarłem ust. „Jakiś ty złośnik! — rzekła.

Należało mi wyjechać tego wieczora i już jej nigdy nie ujrzeć. Przeczuwałem wówczas, że w miłości niewzajemnej — czyli poprostu w miłości, bo są istoty, dla których miłość wzajemna nie istnieje — można kosztować ze szczęścia jedynie tę złudę, która mi była dana, w jednej z owych chwil, gdy dobroć kobiety, lub jej kaprys, lub przypadek, użyczą naszym pragnieniom — w doskonałej z nimi harmonji — tych samych słów, uczynków, co gdyby nas naprawdę kochała. Najrozsądniej byłoby oglądać z ciekawością, posiadać z rozkoszą ową cząsteczkę szczęścia, bez której umarłbym nie podejrzewając czem ono może być dla serc mniej trudnych lub bardziej uprzywilejowanych; przypuścić, że ta cząsteczka stanowi część rozległego i trwałego szczęścia, które mi się objawiło jedynie w tym punkcie, i aby jutrzejszy dzień nie zniweczył tego złudzenia, nie żądać żadnej łaski, po tej którą zawdzięczałem jedynie kaprynowi wyjątkowej chwili. Powiniennem był opuścić Balbec, zamknąć się w samotności, trwać w niej w harmonji z ostatnimi wibracjami głosu, w który zdołałem na chwilę tchnąć miłość i od którego żądałbym już tylko tego aby się nie zwracał więcej do mnie; z obawy aby nowem słowem, któreby musiało być już odmienne, głos ten nie zmącił dysonansem wymownej ciszy, w której, jakgdyby za pomocą jakiegoś pedału, mogłaby we mnie długo przetrwać tonacja szczęścia.

Uspokojony porozumieniem z Albertyną, zacząłem znów więcej przebywać z matką. Lubiła mi opowiadać serdecznie o czasach gdy babka była młodsza. Bojąc się, abym sobie nie wyrzucał smutków jakimi mogłem zachmurzyć schyłek tego życia, wracała chętnie do lat, gdy moje pierwsze prace sprawiały babce radość, dotychczas mi ukrywaną. Mówiliśmy o Combray. Matka powiedziała, że tam bodaj czytałem, i że w Balbec, o ile nie pracuję, powinienem robić to samo. Odpowiedziałem, że aby się otoczyć właśnie wspomnieniami z Combray i ładnymi malowanymi talerzami, chętniebym odczytał *Tysiąc i jedną noc*. Jak niegdyś w Combray, kiedy mi dawała książki na imieniny, matka sprowadziła w sekrecie — aby mi zrobić niespodziankę — równocześnie *Tysiąc i jedną noc* Gallanda i *Tysiąc nocy i jedną noc* Mardrusa. Rzuciwszy okiem na oba przekłady, matka wolałaby abym się trzymał Gallanda, mimo iż bała się wpływać na mnie przez szacunek dla swobody intelektualnej, z obawy niezręcznego wkroczenia w życie mojej myśli i w poczuciu że, będąc kobietą, z jednej strony nie posiada (jak sądziła) potrzebnej kompetencji literackiej, z drugiej nie powinna sądzić lektury młodego człowieka miarą tego

co razi ją samą. W niektórych opowieściach, na które natrafiła, zgorszyła ją niemoralność przedmiotu i brutalność wyrażen. Ale zwłaszcza, przechowując ze czcią jak relikwie nie tylko broszkę, parasolkę, mantylkę, tomik pani de Sévigné, ale także nawyki, myśli i słowa swojej matki, zastanawiając się w każdej okoliczności co powiedziała by ona, matka nie wątpiła, że sąd babki wypadłby ujemnie dla książki Mardrusa. Przypominała sobie, że w Combray, kiedy, zanim się puściłem w stronę Méséglise, czytałem Augustyna Thierry, babka, zadowolona z moich lektur i spacerów, oburzała się jednak, widząc że ten, którego nazwisko zrosło się z hemistychem „*Puis règne Mérovée*” zowie się tu Merowig; również wzbraniała się zwać Karolingami Karlowingów, którym pozostała wierna.

Opowiedziałem matce, co babka myślała o imionach greckich, jakie Bloch, w duchu Leconte de Lisle’a, dawał bogom Homera, nakładając sobie, nawet w najprostszych rzeczach, święty obowiązek (sądził iż na tem polega talent literacki) zachowania greckiej ortografii. Mając naprzykład napisać w liście, że wino, które się u niego pija, to istny nektar, pisał po francusku nektar przez *k*, co go uprawniało do drwienia sobie z Lamartine’a. Otóż, jeżeli *Odyseja*, z której wygnano imiona Ulissesa i Minerwy, nie była już dla babki *Odyseją*, coby rzekła, widząc już na okładce zniekształcony tytuł swoich *Tysiąca i jednej nocy*, nie odnajdując już w wiernym brzmieniu, takim w jakim nawykła od niepamiętnych czasów wymawiać, nieśmiertelnie bliskich imion Szeherazady, Dinarzady. Ba, nawet uroczy Kalif i potężni Geniusze, w tej wersji, *odechrzczeni* — jeżeli można użyć tego słowa dla muzułmańskich opowieści — ledwie byli do poznania, jeden nazwany *Kalifat*, a drudzy *Genni*. Jednakże matka wręczyła mi oba dzieła; oświadczyłem, że będę czytał w dniu gdy będę nadto zmęczony aby robić spacer.

Te dni nie były zresztą liczne. Chodziliśmy na podwieczorki jak niegdyś „całą bandą”: Albertyna, jej przyjaciółki i ja, na skały nad morzem albo do fermi *Marie-Antoinette*. Ale zdarzało się, że Albertyna sprawiała mi wielką przyjemność, mówiąc: „Dzisiaj chcę być trochę sama z tobą, milej będzie wymknąć się we dwójkę”. Wówczas powiadała, że jest zajęta, że zresztą nie potrzebuje się nikomu tłumaczyć; aby zaś inne dziewczęta — o ile się i tak wybrały bez nas na spacer i na podwieczorek — nie mogły nas spotkać, szliśmy jak para kochanków sami do Bagateli lub do *Croix d’Heulan*, podczas gdy *banda*, której nigdy nie przyszłoby na myśl tam nas szukać i która nigdy tam nie chodziła, tkwiła w *Marie-Antoinette*, w nadziei że my tam przyjdziemy. Przypominam sobie upalne dni, kiedy z czoła parobków pracujących w słońcu spadała kropla potu prostopadła, regularna, przerywana, niby kropla wody z kranu i przeplatała się ze spadaniem dojrzałych owoców, które się obrywały z drzewa w sąsiedniej zagrodzie; dziś jeszcze upalne dni pozostały dla mnie — wraz z tajemnicą ukrywanej kobiety — najistotniejszą częścią wszelkiej miłości. Kiedy mi ktoś wspomni o jakiejś kobiecie — o której sam nie pomyślałbym ani przez chwilę — zmieniam plan całego tygodnia poto aby ją poznać, o ile mam ją spotkać w ustronnej fermie. Mimo iż wiem że ta aura i te warunki schadzki nie z niej płyną, zawsze się daję brać na tę dobrze mi znaną przynętę, wystarczającą aby mnie zwać. Wiem, że mógłbym pragnąć tej samej kobiety w chłód i w mieście, ale byłoby to bez akompaniamentu romantyczności, bez zakochania się; niemniej miłość, skoro, dzięki okolicznościom, raz mnie skula, jest nie mniej mocna — bardziej tylko melancholijna, tak jak w życiu stają się melancholijne nasze uczucia do osób w miarę jak się bardziej przekonywujemy o coraz to mniejszym udziale osób w tych uczuciach, obok świadomości, że nowa miłość, którą pragnęlibyśmy widzieć tak trwałą, skrócona wraz z samym naszym życiem, będzie ostatnią.

Było jeszcze w Balbec mało ludzi, mało młodych dziewcząt. Czasami widziałem którąś, przystającą na plaży — pozbawioną uroku, mimo iż wiele znaków wskazywałoby, że to jest ta sama, do której, ku swojej rozpacz, nie śmiałem się zbliżyć niegdyś, w chwili gdy wychodziła z przyjaciółkami z maneżu lub z sali gimnastycznej. Jeżeli to była ta sama (a strzegłem się wspomnieć o tem Albertynie), młoda dziewczyna, którą uważałem niegdyś za upajającą, już nie istniała. Ale nie mogłem uzyskać pewności w tej mierze, bo twarz tych dziewcząt nie przedstawiała na plaży stałej wielkości ani formy, skurczona, poszerzona, przeobrażona mojem oczekiwaniem, niepokojem mego pragnienia lub błogostanem który wystarcza sam sobie, rozmaitością wreszcie ich toalet, szybkością chodu lub przeciwnie bezruchem.

Jednakże z całkiem bliska, jakieś dwie lub trzy były urocze. Ilekroć ujrzałem któregoś z nich, miałem ochotę uprowadzić ją w aleję Tamaryszków, albo w diuny, a bardziej jeszcze na skały. Ale mimo iż pragnienie zawiera — w przeciwieństwie do obojętności — coś z owego zuchwałstwa, które jest jednostronnym początkiem ziszczenia, była jeszcze bądź co bądź między moim pragnieniem a czynem (jakim byłaby prośba o *calusa*) cała nieokreślona strefa wahania, nieśmiałości. Wówczas wchodziłem do cukierni i piłem duszkiem siedem czy osiem kieliszków portu. Natychmiast, w miejsce niepodobnej do wypełnienia przestrzeni między moim pragnieniem a uczynkiem, działanie alkoholu wykreślało linię łączącą je z sobą. Nie było już miejsca dla wahań ani obawy. Zdawało mi się, że młoda dziewczyna pofrunie ku mnie. Szedłem ku niej, same z siebie wychodziły z moich warg słowa: „Chętniebym się przeszedł z panią. Nie zechciałaby pani pójść ze mną nad morze; nikt by nam nie przeszkadzał w zacisznym domku za laskiem, obecnie całkiem pustym?” Wszystkie trudności życia znikły, nie było już żadnych przeszkód dla splecenia się naszych ciał. Żadnych przeszkód — przynajmniej dla mnie. Bo przeszkody nie ulotniły się dla niej, która nie piła portu. Gdyby to uczyniła, i gdyby wszechświat stracił nieco realności w jej oczach, owem długo pieszczonem a nagle udostępnionem w jej myślach marzeniem nie byłaby może wcale chęć znalezienia się w moich ramionach.

Nietylko młode dziewczęta były nieliczne, ale w tym czasie, który nie był jeszcze „sezonem”, bawiły krótko. Przypominam sobie jedną, o rudej cerze, zielonych oczach, rudych policzkach — których dubeltowy i lekki zarys podobny był do skrzydlatych nasion pewnych drzew. Nie wiem, jaki wiatr przywiał ją do Balbec i jaki znów inny uniósł ją z powrotem. Stało się to tak nagle, iż, kiedy zrozumiałem że wyjechała na zawsze, czułem przez kilka dni zgrzyotę, którą odważyłem się wyznać Albertynie.

Trzeba powiedzieć, że wielu z tych dziewcząt nie znałem wcale, lub nie widziałem ich od lat. Często, pisywałem do nich, zanim je spotkałem. Cóż za szczęście, kiedy odpowiedź pozwalała wierzyć w możliwość miłości! W początkach przyjaźni dla kobiety, nawet jeżeli się przyjaźń nie ma później zrealizować, niesposób rozstać się z temi pierwszemi listami. Chce się je mieć cały czas przy sobie, jak otrzymane piękne kwiaty, jeszcze całkiem świeże, na które przestajemy patrzeć jedynie poto, aby je wdechać bardziej z bliska. Miło jest odczytywać zdanie, które się umie na pamięć; w innych zaś, mniej dosłownie znanych, chce się sprawdzić stopień czułości jakiegoś zwrotu. Czy napisała: „Kochany list pana?” I ot, mały zawód w narkotyku słodczy, wynikły bądź stąd że się czytało zbyt szybko, bądź z nieczytelnego pisma naszej korespondentki; nie napisała „kochany list pana”, ale „otrzymany list pana”. Ale reszta jest tak czuła! Och, niechże podobne kwiaty przybędą jutro! Potem, to nie wystarcza; chcielibyśmy z pismem skonfrontować spojrzenia, głos. Umawiamy się na schadzkę, i — mimo że Ona może się nie zmienić — znajdujemy Kota w butach, tam gdzieśmy się spodziewali, na zasadzie opisu lub własnego wspomnienia, spotkać wróżkę Wiwianę. Naznaczamy jej i tak schadzki na jutro, bo jednak to jest *ona*, a jej właśnieśmy pragnęli. Otóż, to pragnienie kobiety o której się marzyło, nie jest bynajmniej uwarunkowane określoną pięknoscia. Te pragnienia są jedynie pragnieniem danej istoty; lekkie jak zapachy, jak storaks był pragnieniem Prothyrai, jak szafran pragnieniem eterycznym, korzenie pragnieniem Hery, mirra zapachem magów, manna pragnieniem Nike, kadzidło zapachem morza. Ale te zapachy, opiewane przez Hymny orfickie, są o wiele mniej liczne niż drogie im bóstwa. Mirra jest zapachem magów, ale także zapachem Protogonosa, Neptuna, Nereusza, Leto; kadzidło jest zapachem morza, ale także pięknej Dike, Temidy, Circe, dziewięciu Muz, Eos, Mnemozyny, Dnia, Dikaiozyny. Co do storaksu, manny i wonnych korzeni, możnaby długo wyliczać bóstwa, które je natchnęły, tak są liczne. Amfietes posiada wszystkie zapachy wyjąwszy kadzidła, a Gaja gardzi jedynie bobem i korzeniami. Podobnie było z moimi pragnieniami owych dziewcząt. Mniej liczne od nich, zmieniały się w zawody i smutki, dość podobne do siebie wzajem. Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji<sup>952</sup> de Guermantes, bo mirra jest pragnieniem Protogonosa „o dwóch płciach, ryczącego nakształt byka niestrudzonego w orgiach, pamiętnego, niewysłowionego, zstępującego radośnie ku ofiarom Orgiofantów”.

<sup>952</sup>Nigdy nie chciałem mirry. Zachowałem ją dla Jupiena i dla księżnej Marji de Guermantes — aluzja niezrozumiała i zdająca się świadczyć że obu tym osobom Proust przeznaczał w opowiadaniu swoim inną jeszcze rolę, niż ta którą w niem posiadają. [przypis redakcyjny]

Ale niebawem sezon doszedł swojej pełni; codzień przyjeżdżał ktoś nowy. Moje coraz częstsze spacerzy, odrywające mnie od uroczej lektury *Tysiąca i jednej nocy*, miały obecnie przykrą i zatruwającą mi je przyczynę. Plaża roila się teraz od dziewcząt, a myśl, jaką mi wsączył Cottard, jakkolwiek nie dostarczyła mi nowych podejrzeń, uczyniła mnie w tej mierze szczególnie wrażliwym i baczny na to aby się nie dać łęgnąć podobnym myślom. Ilekroć jakaś młoda kobieta przybyła do Balbec, czułem się niespokojny, proponowałem Albertynie najdalsze spacerzy, aby nie mogła poznać, a nawet, o ile się da, aby nie mogła ujrzeć nowoprzybyłej. Bałem się oczywiście szczególnie tych, które miały podejrzanę wzięcie lub złą reputację; starałem się przekonać Albertynę, że ta reputacja nie jest oparta na niczym, że jest potwarzą; czyniłem to może — nie przyznając się do tego przed sobą — z nieświadomej jeszcze obawy, że Albertyna będzie się starała zbliżyć do tej zepsutej kobiety, lub będzie żałowała, że nie może tego uczynić z mojego powodu; lub że, z mnogości przykładów, nauczy się brać lekko tak rozpowszechniony występki. Przeczając tej możliwości u każdej występnej, siliłem się wręcz wmówić Albertynie, że miłość lesbijska nie istnieje.

Albertyna gotowa była dzielić moje niedowiarstwo co do nałogów tej lub owej kobiety. „Nie, ja myślę, że ona tylko pozuje na to, poprostu snobizm”. Ale wówczas żalowałem niemal, że broniałem tej sprawy, bo byłem zły, że Albertyna, niegdyś tak surowa, może myśleć, że ta przywara jest czemś na tyle pochlebnym, na tyle interesującym, aby kobieta wolna od tych skłonności starała się przybierać ich pozory. Byłbym chciał, aby już żadna kobieta nie pojawiła się w Balbec; drżałem na myśl, że ponieważ to jest mniej więcej epoka kiedy pani Putbus miała zjechać do Verdurinów, jej panna służąca (której gustów Saint-Loup mi nie tail) mogłaby się wybrać na plażę i próbować uwieść Albertynę o ile byłby to dzień, w który mnieby przy niej nie było. Ponieważ Cottard nie krył, że Verdurinom bardzo na mnie zależy i że, nie chcąc aby się wydawało (jak on mówił) że się za mną upędzają, dużo daliby za to abym u nich bywał, zacząłem się w końcu zastanawiać, czybym nie mógł, w zamian za obietnicę, że w Paryżu sprowadzę pani Verdurin wszystkich możliwych Guermantów, wyprosić u niej aby pod jakimś pozorem powiedziała pani Putbus, że nie może jej gościć u siebie i wyprawiła ją jak najrychlej. Ponieważ jednak niepokoiła mnie zwłaszcza obecność Anny, ukojenie, jakie mi przyniosły słowa Albertyny, trwało jeszcze jakiś czas; wiedziałem zresztą, że niebawem będę go potrzebował mniej, bo Anna miała wyjechać z Rozamondą i z Gizelą, niemal w chwili największego zjazdu, tak że miała już spędzić z Albertyną jedynie kilka tygodni. Przez ten czas zresztą, wszystko co robiła i mówiła Albertyna, miało wyraźnie ten cel aby zniweczyć moje podejrzenia lub aby się im nie dać odrodzić. Starła się nigdy nie zostawać sama z Anną; kiedyśmy wracali, nalegała abym ją odprowadził aż do bramy, a kiedyśmy się gdzieś wybierali — abym wstępował po nią. Anna ze swojej strony postępowała tak samo; zdawało się, że unika Albertyny. I to wyraźne porozumienie między nimi nie było jedyną wskazówką, że Albertyna musiała wtajemniczyć przyjaciółkę w treść naszej rozmowy i prosić ją aby pocziwie pomogła uspokoić moje nedorzeczne podejrzenia.

W tym czasie zdarzył się w hotelu w Balbec skandal, który nie mógł się przyczynić do ukojenia moich udręczeń. Siostra Blocha utrzymywała od jakiegoś czasu z ex-aktorką sekretne stosunki, które niebawem przestały im wystarczać. Chciały być widziane; to dawało perwersyjny smaczek ich uciechom; pragnęły uprawiać swoje niebezpieczne igraszki na oczach całego świata. Zaczęło się w salonie gry, dokoła stołu bakaratowego, od pieszczoł, które ostatecznie można było przypisać tkliwej przyjaźni. Potem rozzuchwały się. Wreszcie, pewnego wieczora, w kącie wielkiej sali balowej (nawet nie ciemnym), na kanapie, zachowały się tak bezceremonialnie jakby były w łóżku. Dwaj oficerowie, znajdujący się opodal z żonami, poskarżyli się przed dyrekcją. Zdawało się na chwilę, że reklamacja ich odniesie skutek. Ale oficerowie mieli ten brak, że przybywszy na jeden wieczór z Netteholme, gdzie mieszkali, do Balbec, nie przedstawiali dla kasyna żadnej wartości, podczas gdy nad panną Bloch, nawet bez jej wiedzy i mimo upomnień jakich udzielił jej dyrektor, unosiła się protekcja Nissima Bernard. Trzeba powiedzieć czemu. Pan Nissim Bernard uprawiał w najwyższym stopniu cnoty rodzinne. Co rok, wynajmował w Balbec wspaniałą willę dla swego siostrzeńca i żadne zaproszenie nie odciągnęłoby go od obiadu w gniazdku rodzinnym. Ale nigdy nie jadał śniadania w domu. Codzień w południe był w Grand-Hotelu, a to dlatego, że, jak tylu innych, utrzymywał męską baletniczkę, „pi-

cola” dosyć podobnego do tych „strzelców”, o których mówiliśmy i którzy przywodzili nam na myśl młode izraelitki z *Estery* lub *Atalji*. Prawdę mówiąc, czterdzieści wiosen, które dzieliły pana Nissim Bernard od młodego picola, powinny były ubezpieczyć dziewczynę od niezbyt miłych kontaktów. Ale, jak roztropnie powiada Racine w tych samych chórach:

O Boże, z jakąż trwogą w sercu swem beźmierną,  
Śród ilu niebezpieczeństw cnota stawia kroki!  
Dusza, która cię szuka i chce ci być wierną,  
Jakże potężne zwalczać zła musi uroki!

Młody picolo, mimo że „zdala od świata chowany” w świątyni Grand-Hotelu w Balbec, nie poszedł za radą Joady:

Na bogactwie i złocie nie buduj żywota.

Znalazł może argument, powiadając „Od grzeszników roi się na ziemi”. Jakbądź się rzeczy miały i mimo że pan Nissim Bernard nie liczył nawet na tak szybki sukces, od pierwszego dnia

Czy to wskutek przestraszenia, czy z chęci pieszczoty,  
Uczuł niewinnych ramion tulące go sploty.

A od drugiego dnia, w towarzystwie pana Nissim Bernard, „zaraźliwe dotknięcie kaziło niewinność” młodego picola. Odtąd życie dziewczyny uległo zmianie. Mimo iż nosił chleb i sól, jak mu to jego bezpośredni zwierzchnik nakazywał, cała twarz jego śpiewała:

Z kwiatów na kwiaty, z rozkoszy w rozkosze — serc naszych nieśmy  
pragnienia. — Któż wie, jak długo nam życia — śpieszmy się pić jego smak.  
— Cześć i zaszczyty — ślepego jeno posłuchu nagrodą — za smutną niewinnością,  
— któżby chciał podnieść głos!

Od tego dnia, p. Nissim Bernard nigdy nie omieszkiał zająć swego miejsca przy śniadaniu (tak jakby zrobił w sali opery ktoś, kto utrzymuje „figurantkę” — w tym wypadku figurantkę bardzo specjalnego rodzaju, oczekującą jeszcze swojego Degasa). P. Nissim Bernard znajdował przyjemność w tem, aby śledzić w jadalni — aż het w odległych perspektywach, gdzie pod palmą królowała kasjerka — ewolucje młodzieńca, gorliwego w obsłudze wszystkich, a mniej gorliwego w obsłudze pana Nissima, od czasu jak ów wziął go na utrzymanie, czy że dziewczyna uważała za zbyt cenne rozwijać tyle uprzejmości dla kogoś kto go i tak kochał dostatecznie, czy że go ta miłość drażniła, lub że się obawiał iż ujawnienie jej pozbawi go innych gratek. Ale właśnie ten chłód podobał się panu Nissimowi ze wszystkiem co ukrywał; bądź przez hebrajski atawizm, bądź przez profanację uczuć chrześcijańskich osobliwie podobał sobie w ceremonji *à la* Racine, żydowskiej czy katolickiej. Gdyby to było prawdziwe przedstawienie *Estery* lub *Atalji*, pan Bernard żałowałby, że przedział wieków nie pozwolił mu znać autora, imię pana Racine, aby uzyskać dla swego protegowanego większą rolę. Że jednak ceremonia śniadania nie wyszła z pod pióra żadnego pisarza, p. Bernard starał się poprostu być w dobrych stosunkach z dyrektorem i z panem Aimé, iżby „młody izraelita” wznosił się do upragnionej godności garsona. Proponowano mu funkcje piwnicznego; ale pan Bernard skłonił młodego człowieka do odrzucenia tychże, ponieważ on sam, Nissim Bernard, nie mógłby wówczas patrzeć nań codziennie, jak krąży po zielonej jadalni i być obsługiwany przezeń jak obcy gość. Przyjemność ta była tak wielka, że co roku pan Bernard jeździł do Balbec i zawsze jadał śniadanie poza domem. Pierwszy z tych nawyków tłumaczył sobie pan Bloch poetycznym upodobaniem w zachodach słońca, szczególnie pięknych na tem wybrzeżu; drugi nałogiem starego kawalera.

Prawdę mówiąc, ta omyłka krewnych pana Nissima Bernard, którzy nie podejrzewali istotnej przyczyny jego corocznych pobytów w Balbec, oraz tego, co pani Bloch nazywała wytwornie jego „kuchennem wiarołomstwem”, ta omyłka zawierała prawdę głębszą,

prawdę drugiej kategorii. Bo p. Bernard sam nie czuł, ile miłości do plaży w Balbec, do widoku z restauracji na morze i ile maniackiego nałogu mogło wchodzić w tę pasję utrzymywania — niby młodej baletniczki innej kategorii której brak jeszcze jakiegoś Degasa — jednego ze służebników hotelu, pełniących zarazem funkcje „dziewczynek”. Toteż pan Bernard utrzymywał wyborne stosunki z dyrektorem tego teatru — czyli hotelu w Balbec — oraz inscenizatorem i reżyserem Aimé, których zachowanie się w całej tej sprawie było nienajczystsze. Można będzie — myślał — pochodzić kiedyś koło tego, aby uzyskać „pierwszą rolę” — może „maître d’hôtel’a”. Na razie, przyjemność pana Nissim Bernard, mimo iż tak poetyczna i spokojnie kontemplacyjna, miała potrosze coś z przyjemności owych kobieciarzy, którzy wiedzą zawsze — jak niegdyś Swann — że wybierając się gdzieś na wieczór, spotkają tam swoją kochankę. Ledwie usiadłszy, p. Nissim miał ujrzeć przedmiot swoich uczuć, jak kroczy po scenie, niosąc na tacy owoce lub cygara. Toteż co rano, uściskawszy siostrzenice, zatroszczywszy się o prace młodego Blocha i dawszy koniom kawałek cukru na dłoni, spieszył się gorączkowo, aby zdążyć na śniadanie do Grand-Hotelu. Mógłby wybuchnąć pożar w domu, mogłaby jego siostrzenica dostać ataku apopleksji — poszedłby prawdopodobnie i tak. Toteż bał się panicznie kataru, dla którego, będąc hipochondrykiem, zostałby w łóżku, zmuszony prosić Aimégo, aby przed podwieczorkiem przysłał mu do domu młodego przyjaciela. Lubił zresztą cały labirynt korytarzy, sekretnych gabinetów, salonów, szatni, kredensów, sieni, składających hotel w Balbec. Przez atawizm człowieka Wschodu, lubił seraje i kiedy wychodził wieczorem, widziano go jak chyłkiem bada ich zakamarki.

Podczas gdy zapuszczając się aż do suterenu — ale starając się mimo wszystko nie być widzianym i uniknąć skandalu — p. Nissim Bernard, w poszukiwaniu młodych lewitów, przywoził na myśl te wiersze z *Żydówki*:

O, władco nieba, ziemi,  
Spójrz na dzieci swe,  
Ukryj przed niewiernymi  
Tajemnice te!

ja szedłem przeciwnie do pokoju dwóch sióstr, które towarzyszyły w Balbec, jako pokojówki, pewnej starszej damie, cudzoziemce. Mimo trudności, z jaką łączyło się dla klienta zachodzić do izdebki pokojówek — i nawzajem — zaprzyjaźniłem się nader szybko, przyjaźnią bardzo żywą mimo iż niewinną, z temi dwiema młodemimi osobami, panną Marją Gineste i panią Celestą Albaret. Urodzone u stóp wysokich gór w centrum Francji, wśród strumieni i potoków (woda przepływała pod samym ich rodzinnym domem, gdzie obracała młyn; nie jeden raz dom ich zniszczyły wylewy), zachowały jakgdyby coś z ich natury. Marja Gineste była jednostajnie chyża i rwąca, Celesta Albaret bardziej leniwa i bierna, rozlana jak jezioro, ale ze straszliwymi wezbraniami kipiących fal: wówczas wściekłość jej przypominała groźę wirów wodnych, które porywają i pustoszą wszystko. Zachodziły często do mnie rano, kiedy jeszcze leżałem. Nigdy nie znałem osób tak dobrowolnie ciemnych, które absolutnie niczego nie nauczyły się w szkole, a jednak język ich miał coś tak literackiego, że gdyby nie nawskroś prymitywna naturalność tonu, możnaby brać ich sposób mówienia za afektację. Podczas gdy maczałem rogaliki w mleku, Celesta mówiła z poufalością, której nie zmieniam żadnym retuszem, mimo pochwał (przypuszczam je tutaj nie żeby chwalić siebie, ale aby chwalić szczególny talent Celesty) i mimo krytyk równie fałszywych ale bardzo szczerych, jakie słowa te zdawały się zawierać w stosunku do mnie:

„Och, patrz, ten czarny djabełek z włosami jak kruk, o cóż to za szelma! ja nie wiem, na co się zapatrzyła jego matka, kiedy go na świat wydała, bo wszystko ma z ptaka. Popatrz, Marjo, nie powiedziałałoby się, że on sobie gładzi pióra; jak on obraca tę giętką szyjkę, wygląda taki leciutki, rzekłbyś że się uczy latać. Haha! ma szczęście, że się poczał i urodził w bogactwie; coby się stało z takim marnotrawcą! Patrz, rzuca ten rogalik, dlatego że dotknął nim koldry. O, o, patrz, rozlewa mleko; czekaj, niech ci założę serwetę, bo nie dasz sobie rady; w życiu nie widziałam czegoś tak głupiego i niezgrabnego jak ten chłopiec”. Wówczas rozlegał się regularniejszy szmer strumienia Marji Gineste, która, wściekła, lajała siostrę: „Słuchaj Celesto, będziesz ty cicho. Czyś ty zwarzowała, żeby mówić do pana w ten



sposób?” Celesta uśmiechała się tylko, że zaś nie cierpiałem aby mi wiązano serwetę, odpowiadała: „Ale nie, Marjo, przypatrz się mu dobrze: o, patrz, jak się wyprężył cały, niczem ten wąż. Istny wąż, powiadam tobie”. Sypała zresztą jak z rękawa porównania zoologiczne; twierdziła że nigdy się nie wie kiedy ja śpię: bujam całą noc jak motyl, a w dzień jestem zwinny jak wiewiórka. „Wiesz, Marjo, te wiewiórki u nas, takie zwinne, że nawet oczami ich nie zgoni. — Celesto, wiesz, że on nie lubi serwety na szyi kiedy je. — To nie to że nie lubi; tylko żeby pokazać, że nie da się zmienić jego woli. To jest pan, chce pokazać że jest pan. Zmieni prześcieradła dziesięć razy jeżeli trzeba, ale nie ustąpi. Wczorajsze już powędrowały do brudów, ale dzisiejsze dopiero obleczone, a już trzeba będzie je zmienić. Ha ha! miałem rację, że jemu nie było pisane urodzić się biedakiem. Popatrz jak mu się włosy nastroszyły z gniewu jak pióra u ptaka. Biedne ptaszysko!”

Tutaj nietylko Marja protestowała, ale i ja sam, bo nie czułem się wcale „panem”. Ale Celesta nie wierzyła nigdy w szczerość mojej skromności i przerywała mi wołając: „A, szelma! co za słodycz, co za perfidja! chytrłość nad chytrściami, szelma nad szelmami! A, Molier! (było to jedyne nazwisko pisarza jakie знаła, ale stosowała je do mnie, rozumiejąc przez to kogoś, kto byłby zarazem zdolny pisać na scenę i grać). — Celesto! — krzyczała Marja, która, nie znając nazwiska Moliera, bała się, czy to nie jest nowa zniewaga.

Celesta znów się uśmiechała. „Czy ty nigdy nie widziała w szufladzie jego fotografii, kiedy był dzieckiem? On chciałby w nas wmówić, że zawsze go ubierano bardzo z prosta. A tu patrz, z tą laseczką, same futra i koronki, jak żaden książę. Ale to jeszcze nic, przy jego wspaniałym majestacie i jeszcze głębszej dobroci. — Ładne rzeczy! — szemrał strumień Marji — więc ty mu plondrujesz po szufladach?”

Aby ulagodzić obawy Marji, spytałem, co myśli o sprawach pana Bernard z tym... „Och, proszę pana, to są takie rzeczy, że nigdybym nie uwierzyła że takie coś istnieje: trzeba było przyjechać tutaj!” I bijąc tym razem Celestę głębokością ujęcia, dodała: „Cóż, widzi pan, nie można nigdy wiedzieć, co się kryje w czyjem życiu”.

Aby zmienić temat, opowiadałem im o życiu mego ojca, pracującego dzień i noc. „Tak, tak, proszę pana, są takie żywoty, w których człowiek nie zachowuje nic dla siebie, ani minuty, ani przyjemności, wszystko jest samem poświęceniem, to są życia *rozdane*. — Popatrz, Celesto, nic tylko połóż rękę na kołdrze i weźmie ten rogalik; co za dystynkcja! Może robić najzwyklejsze rzeczy, a i tak powiedzialoby się że całe szlachectwo Francji, aż do Pirenejów, wlaźło w każdy jego ruch”.

Zmiażdżony tym tak nieprawdziwym portretem, milczałem; Celesta widziała w tem nową chytrłość: „Ha! to czoło które wygląda takie czyste, a które kryje tyle sekretów; policzki lube i szczerze jak ten migdał, pluszowe rączyny, paznokcie jak pazurki, etc. Marjo, patrz, jak on pije mleczko, tak nabożnie, że człowieka bierze ochota pomodlić się. Co za poważna mina! Powinno by się go wymalować teraz. Czyste dziecko. Czy to z tego zachował taką jasną cerę, że pije mleko jak dzieci? Och, młodość, och, ładna skórka. Nie zestarzeje się nigdy. Ma szczęście, nie będzie nigdy potrzebował podnieść ręki na nikogo, bo ma oczy, które umieją nakazać swoją wolę. Oho! już wpada w gniew. Wyprostował się, patrz, jak ten paragraf”.

Franciszka bardzo nie lubiła, aby te — jak je nazywała — *zwozdzicielki*, zachodziły do mnie na gawędy. Dyrektor, który przez swoich podwładnych śledził wszystko co się dzieje w hotelu, zwrócił mi poważnie uwagę, że nie jest godne klienta przestawać z pokojówkami. Ja który cenilem „zwozdzicielki” wyżej od wszystkich dam zamieszkałych w hotelu, poprostu roześmiałem mu się tylko w nos, pewien że nie zrozumiałby moich wyjaśnień. I siostry wciąż zachodziły do mnie: „Popatrz, Marjo, na te delikatne rysy. O, cudowna miniatura, piękniejsza niż za gablótką, bo on ma ruchy i słowa takie, żeby się ich słuchało całe noce i całe dnie”.

To cud, że cudzoziemska dama zdołała je zabrać, bo nie znając historii ani geografii, nie cierpiała na ślepo Anglików, Niemców, Rosjan, Włochów, cudzoziemskiego „robactwa”, kochając — z wyjątkami — tylko Francuzów. Twarz ich tak zachowała wilgoć plastycznej gliny ich rzek, że kiedy się mówiło o jakimś mieszkającym w hotelu cudzoziemcu, na to aby powtórzyć coś co on powiedział, Celesta i Marja wcielały się w jego twarz, ich usta zmieniały się w jego usta, oczy w jego oczy; miałyby się ochotę utrwalić te cudowne maski. Celesta nawet, udając że tylko powtarza to co powiedział dyrektor lub któryś z moich przyjaciół, stroiła swoje opowiadanie w zmyślane wstawki, w których,

ot tak, od niechcienia, streszczała złośliwie wszystkie wady Blocha, prezydenta sądu, etc. Był to zawsze niezrównany portrecik, wykonany w ramach prostego zlecenia, którego się uprzejmie podjęła. Nie czytała nigdy nic, nawet dziennika. Ale pewnego dnia znalazły na mojem łóżku książkę. Były to cudowne, ale ciemne poezje Saint-Léger Léger. Celesta przeczytała kilka stron i powiedziała: „Ale czy pan jest całkiem pewny, że to są wiersze; może to prędzej zagadki? Oczywiście, dla osoby, która nauczyła się w dzieciństwie tylko jednego wiersza: *Ici bas tous les lilas meurent...* brakowało jakiegoś ogniwa. Sądzę, że ów upór w tem aby się niczego nie uczyć, był trochę w związku z ich niezdrową okolicą. Były jednak równie utalentowane jak niejeden poeta, z większą skromnością niż się zdarza u poetów. Bo jeżeli Celesta powiedziała coś godnego uwagi i kiedy, nie mogąc sobie tego przypomnieć, prosiłem jej o powtórzenie, kłęła się że zapomniała. Nie będą nigdy czytały książek, ale nie popełnią ich także.

Franciszka była dość przejęta wiadomością, że z dwóch braci tych tak prostych kobiet jeden zaślubił siostrzenicę arcybiskupa w Tours, drugi krewną biskupa Rodez. Dyrektorowi nie powiedziałoby to nic. Celesta wyrzucała czasami swemu mężowi że jej nie rozumie, a ja dziwiłem się, że on z nią może wytrzymać. Bo w pewnych momentach, dygocąca, wściekła, niszcząca wszystko, była okropna. Uczeni twierdzą, że słony płyn, jakim jest nasza krew, jest jedynie wewnętrznem przetrwaniem pra-elementu morza. Sądzę że tak samo Celesta, nietylko w atakach furji, ale także w chwilach depresji, zachowała rytm swoich rodzimych strumieni. W momentach wyczerpania, była również podobna do nich; wysychała poprostu. Nic nie mogłoby jej wówczas ożywić. Potem nagle krążenie wracało w jej wielkiem, wspaniałem i lekkim ciele. Woda płynęła pod opalową przezroczystością błękitnej skóry. Uśmiechała się do słońca i robiła się jeszcze błękitniejsza. W tych chwilach Celesta była naprawdę — jak jej imię — niebiańska.

Blochowie nie domyślili się nigdy racji, dla której wuj ich nie śniadał nigdy w domu i brali to zawsze za manję starego kawalera (może jakiś stosuneczek z aktorką?); natomiast dla dyrektora hotelu w Balbec wszystko co tyczyło pana Nissima Bernard, było „tabu”. I oto czemu, nawet bez porozumienia się z wujem, dyrektor nie odważył się w rezultacie potępić jego siostrzenicy; zalecił jej jedynie pewną oględność. Młoda panna i jej przyjaciółka bały się przez kilka dni, że je wykluczą z kasyna i z Grand-Hotelu; widząc że się wszystko szczęśliwie ułożyło, rade były pokazać „ojcom rodziny” którzy się od nich odwracali, że mogą sobie bezkarnie na wszystko pozwolić. Zapewne, nie posunęły się do powtórzenia publicznej sceny, która tak zgorszyła wszystkich. Ale stopniowo wróciły do swoich obyczajów. I pewnego wieczora, kiedym wychodził z nawpół ciemnego już kasyna z Albertyną i ze spotkanym tam Blochem, one minęły nas splecione uściskiem, nie przestając się całować, a zrównawszy się z nami, zaczęły wydawać mlaskania, śmiechy i nieprzystojne krzyki. Bloch spuścił oczy, aby nie pokazać że poznał siostrę<sup>953</sup>, a ja cierpiałem męki, na myśl że ten specjalny i okrutny język odnosił się może do Albertyny.

Inny wypadek zwrócił jeszcze bardziej moją uwagę w stronę Gomory. Spotkałem kiedyś na plaży piękną, młodą kobietę, wysmukłą i bladą, z której oczu tryskały tak geometrycznie lśniące promienie, że spojrzenie jej budziło myśl o jakiejś konstelacji. Pomyślałem, o ile ta dziewczyna piękniejsza jest od mojej przyjaciółki, i jak rozsądne byłoby wyrzec się Albertyny. Co najwyżej, przez twarz tej pięknej kobiety przeszedł niewidzialny hebel nikczemności życia, godzenia się z plugawymi środkami, tak że oczy jej, mimo iż szlachetniejsze od reszty twarzy, musiały promieniować jedynie apetyty i żądze. Otóż nazajutrz, kiedy ta młoda kobieta znalazła się w kasynie bardzo blisko nas, ujrzałem że nie przestaje prażyć Albertyny klującymi ogniami spojrzeń. Można by rzec, że jej daje znaki, jak zapomocą latarni morskiej. Drżałem, że Albertyna ujrzy iż ktoś na nią tak zwraca uwagę; bałem się czy raz po raz zapalane spojrzenia nie oznaczają w umownym języku schadzki na jutro. Kto wie? ta schadzka nie była może pierwsza. Młoda kobieta z promiennymi oczami mogła być już dawniej w Balbec? Jeżeli się ważyła ślać jej te sygnały, to może dlatego, że Albertyna uległa już pragnieniom jej samej lub pragnieniom którejs z jej przyjaciółek? W takim wypadku nietylko żądały czegoś teraz, ale czuły się do tego uprawnione słodkimi godzinami przeszłości. W takim razie owa schadzka nie byłaby

<sup>953</sup>Bloch (...) poznał siostrę — ta „siostra Blocha” raz jest siostrą, raz „kuzynką”. Takich przeoczeń (lub rozmyślnych oznak nieważności „realiów”) bywa u Prousta sporo. [przypis redakcyjny]

pierwsza, ale stanowiłaby dalszy ciąg wspólnych przeżyć poprzednich lat. I czy w istocie spojrzenia te nie mówiły: „Chcesz?” Z chwilą gdy młoda kobieta spostrzegła Albertynę, zwróciła głowę i błysnęła oczami naładowanymi pamięcią, tak jakby się bała i zdumiewała zarazem, że tamta może sobie nie przypominać. Albertyna, która widziała ją bardzo dobrze, siedziała flegmatycznie i bez ruchu, tak że nieznajoma zaprzestała swojej gry, z tą samą dyskrecją, z jaką mężczyzna, widząc swoją dawną miłość z nowym kochankiem, przestaje na nią patrzeć i zachowuje się tak jakby nie istniała.

Ale w kilka dni później zyskałem dowód gustów młodej kobiety, a także dowód prawdopodobieństwa, że ona znała Albertynę niegdys. Często w sali kasyna, kiedy dwie młode dziewczyny pragnęły się wzajem, powstawało jakby zjawisko świetlne, rodzaj fosforyzującej smugi między nimi. Powiedzmy mimochodem, że zapomocą takich materjalizacyj — choćby były nieważkie — przez te astralne i płomienne znaki rozprószona Gomora stara się w każdym mieście i miasteczku zespolić swoje mieszkanki, odbudować biblijne miasto, gdy równocześnie nostalgiczni, obłudni, odważni niekiedy wygnańcy Sodomy podejmują wszędzie te same wysiłki, bodaj w celu dorywczej jej odbudowy.

Raz ujrzałem tę nieznajomą (której Albertyna zdawała się nie poznawać) właśnie w chwili gdy przechodziła kuzynka Blocha. Oczy młodej kobiety rozgwieździły się, ale widać było, że nie zna młodej izraelitki. Widziała ją pierwszy raz, uczuła pociąg do niej, prawie bez wątpliwości, ale nie z tą pewnością co wobec Albertyny, Albertyny, na której pobratymstwo musiała tak bardzo liczyć, że wobec jej chłodu odczuła zdumienie, jak cudzoziemiec, znający dobrze Paryż, gdy, przybywszy tam znowu na kilka tygodni, ujrzy iż na miejscu teatrzyku, gdzie spędzał miłe wieczory, zbudowano bank.

Kuzynka Blocha usiadła przy stoliku i zaczęła przeglądać jakieś pisma. Niebawem młoda kobieta siadła z roztargnioną miną koło niej. Ale pod stołem można było niebawem widzieć ich zmagające się stopy, potem zaplatające się nogi i ręce. Potem przyszły słowa, zawiązała się gawędka i naiwny mąż młodej kobiety, który jej szukał wszędzie, bardzo się zdumiał, zastawszy ją w towarzystwie nieznajomej mu młodej dziewczyny, z którą robiła plany na wieczór. Żona przedstawiła mu kuzynkę Blocha jako przyjaciółkę z dzieciństwa, pod niezrozumiałym nazwiskiem, bo zapomniała spytać jej jak się nazywa. Ale obecność męża posunęła o krok dalej ich zażyłość, bo zaczęły się tykać, jako koleżanki z klasztoru; — epizod z którego śmiały się później do rozpuku, zarówno jak z oszukanego męża, a wesołość ta stała się im sposobnością do nowych czułości.

Co się tyczy Albertyny, nie mogę powiedzieć, aby gdziekolwiek, w kasynie czy na plaży, zachowywała się wobec którejś z dziewcząt zbyt swobodnie. Okazywała nawet zbyt chłodu i obojętności, co mi się zdawało nietylko dobrem wychowaniem, ile komedią mającą odwrócić podejrzenia. Jakiejś pannie naprzykład odpowiadała szybko, lodowato i skromnie, bardzo głośno: „Tak, będę koło piątej na tenisie. Będę się jutro kąpała rano koło ósmej”, poczem opuszczała natychmiast osobę do której zwróciła te słowa; sposób straszliwie wyglądający na fintę i na to że naznaczała schadzki, albo raczej że naznaczywszy ją pocichu, rzucała głośno te blahe zdania, aby „było naturalniej”. I kiedy następnie widziałem jak siada na rower i puszcza się pędem, nie mogłem zdławić myśli, że ona śpieszy na spotkanie osoby, do której ledwie się odezwała.

Conajwyżej, kiedy jaka młoda piękność wysiadła z auta koło plaży, Albertyna nie mogła się powstrzymać aby się nie odwrócić. I tłumaczyła mi zaraz: „Patrzałam na nową flagę wywieszoną przy kąpielach. Mogliby się zdobyć na porządniejszą. Dawna była dość szmatława, ale ta to bodaj jeszcze większa tandeta”.

Raz Albertyna nie ograniczała się do chłodu i zadała mi tem większy ból. Wiedziała iż mnie to drażni, że mogłaby czasami spotykać przyjaciółkę ciotki, wyglądającą „podejrzenie” i spędzającą czasem parę dni u pani Bontemps. Albertyna rzekła pocziwie, że już się jej nie będzie klaniać. A kiedy ta osoba zjawiała się w Incarville, Albertyna mówiła: „A propos, wiesz że ona jest tutaj. Czy ci już mówiono?” jakby dla dowiedzenia, że jej nie widuje pokryjomu. Pewnego dnia, mówiąc to, dodała: „Tak, spotkałam ją na plaży, i umyślnie, chcąc być niegrzeczna, prawie otarłam się o nią, potrafiłam ją”. Kiedy Albertyna tak mówiła, przypomniało mi się pewne powiedzenie pani Bontemps, o którym nigdy później nie myślałem: kiedy mianowicie opowiadała przy mnie pani Swann, jaka jej siostrzenica jest bezczelna (tak jakby to była zaleta) i jak wypaliła jakiejś żonie urzędnika, że jej ojciec był kuchcią. Ale słowa osoby, którą kochamy, nie przechowują

się długo w czystym stanie; psują się, gniją. W dzień czy dwa później, znów myślałem o odezwaniu się Albertyny i już nie wydawało mi się ono cechą złego wychowania (którem się pyszniła i z którego mogłem się jedynie uśmiechnąć), ale zupełnie czem innym; pomyślałem, że Albertyna, może nawet bez określonego celu, aby podrażnić zmysły owej damy lub przypomnieć jej złośliwie dawne propozycje może przyjęte niegdyś — otarła się o nią szybko, myślała że ja się może dowiedziałem o tem (skoro to było publiczne) i chciała z góry uprzędzić niekorzystną interpretację.

Zresztą zazdrość moja, spowodowana przez kobiety, które Albertyna może kochała, miała nagle ustać.

\*

Siedzieliśmy we dwoje z Albertyną na stacji kolejki w Balbec. Przybyliśmy tam omnibusem hotelowym, z powodu niepogody. Niedaleko nas znajdował się p. Nissim Bernard; miał podbite oko. Zdradzał od jakiegoś czasu swoje dziecię z chórów *Atalji* na rzecz parobka sąsiedniej dosyć uczęszczanej fermy *Pod wiśniami*. Ten czerwony chłopak o grubych rysach robił zupełnie wrażenie, że zamiast głowy ma pomidor, ściśle podobny pomidor służył za głowę jego bliźniemu bratu. W takich doskonałych podobieństwach dwóch bliźniaków dosyć piękne dla bezinteresownego widza jest to, że natura, rzekłbyś chwilowo zindustrializowana, wydaje niejako seryjne produkty. Na nieszczęście, punkt widzenia pana Nissim Bernard był inny, a to podobieństwo było czysto zewnętrzne. O ile pomidor nr. 2 lubował się frenetycznie w wyłącznym uszczęśliwianiu dam, o tyle pomidor nr. 1 godził się zstępować do gustu niektórych panów. Otóż, za każdym razem, kiedy, wzruszony pamięcią szczęśliwych chwil spędzonych z pomidorem nr. 1, p. Bernard zjawiał się *Pod wiśniami*, stary izraelita krótkowidz (i bez tego można było pomylić tych braci), grając bezwiednie *Amfitrjona*, zwracał się do bliźniaka i mówił: „Chcesz się ze mną pobawić dziś wieczór?” I dostawał natychmiast tęgie lanie. Powtarzało się to nawet w czasie jednego podwieczorku, gdy z drugim *pomidorem* kontynuował rozmowę zaczęłą z pierwszym. Z czasem obrzydziło mu to, przez skojarzenie pojęć, pomidory, nawet jadalne; tak że, ilekroć zdarzyło mu się słyszeć że jakiś gość przy sąsiednim stoliku zamawia w Grand-Hotelu pomidory, szeptał: „Przepraszam pana, że się ośmielam wtrącić, choć nieznamy. Ale słyszałem, że pan zamawia pomidory. Są dziś zgniłe. Mówię to w pańskim interesie, mnie to jest obojętne, nie jadam ich nigdy”. Obcy dziękował gorąco bezinteresownemu i życzliwemu sąsiadowi, odwoływał garsona, udawał że się rozmyślił. „Nie, stanowczo, pomidorów nie chcę”. Aimé, który znał tę scenę, śmiał się w duchu i myślał: „Ten stary pajac Bernard znów zdołał obrzydzić gościowi”.

P. Bernard, czekając na spóźniony pociąg, nie kwapił się witać z nami; żenowało go podbite oko. Nam jeszcze mniej było pilno do rozmowy. Byłoby to jednak nieuniknione, gdyby w tej chwili nie wpadł na nas pędem rower; zeskoczył z niego zdyszany lift-boy. W chwilę po naszym wyjeździe, pani Verdurin zatelefonowała żeby do niej przyjechał pojutrze na obiad; okazało się niebawem czemu. Następnie, przekazawszy mi szczegóły telefonu, chłopiec opuścił nas; jak owi demokratyczni „funkcjonariusze”, którzy wobec burżujów udają niezależność, między sobą zaś przywracają zasadę autorytetu, chcąc powiedzieć że odźwierny i stangret mogliby się wściekać w razie gdyby się spóźnił, dodał: „Muszę wracać z powodu moich zwierzchników”.

Przyjaciółki Albertyny wyjechały na jakiś czas. Chciałem ją rozerwać. Nawet przyjąwszy, że znajduje szczęście w spędzaniu popołudni tylko ze mną, wiedziałem że takie szczęście nigdy nie jest pełne, i że Albertyna, jeszcze będąc w wieku (pewni ludzie nie wyrastają z tego wieku nigdy) kiedy się nie odkryło, iż ta niedoskonałość tkwi w osobie doznającej szczęścia a nie w tej która je daje, mogłaby mnie przypisywać przyczynę swego zawodu. Wolałem raczej, aby ją przypisywała okolicznościom, które, skombinowane przezemnie, nie dawałyby nam łatwości pozostawiania sam na sam, nie pozwalając jednak Albertynie bywać bezemnie w kasynie i na didze. Toteż prosiłem ją tego dnia, aby mi towarzyszyła do Doncières, gdzie miałem odwiedzić Roberta. W tej samej myśli zatrudnienia Albertyny, doradziłem jej malarstwo, którego się uczyła niegdyś. Zajęta pracą, nie zastanawiała się nad tem, czy jest szczęśliwa czy nie. Byłbym ją także chętnie brał od czasu do czasu na obiad do Verdurinów lub do Cambremerów (i ci i ci przyjełliby

z pewnością chętnie osobę przedstawioną przezemnie), ale na to trzeba mieć pewność, że niema jeszcze w la Raspelière pani Putbus. Mogłem to sprawdzić jedynie na miejscu; że zaś wiedziałem, iż pojutrze Albertyna musi jechać w sąsiedztwo z ciotką, skorzystałem z tego aby wysłać depeszę do pani Verdurin z zapytaniem, czy mogłaby mnie przyjąć we środę. Gdybym zastał tam panią Putbus, postarałbym się zobaczyć jej pokojówkę, upewnić się czy grozi przyjazd jej do Balbec i w takim razie dowiedzieć się kiedy, aby tego dnia wywieźć Albertynę gdzieś daleko.

Kolejka robiła pętlę, która nie istniała jeszcze kiedy nią jechałem z babką; przejeżdżała obecnie przez Doncières-la-Goupil, wielką stację, skąd już wyjeżdżały prawdziwe pociągi, między innymi ekspress, którym przybyłem niegdyś do Roberta z Paryża i którym wróciłem. I z powodu niepogody, omnibus hotelowy odwiózł Albertynę i mnie na stacyjkę *Balbec-plage*.

Kolejki jeszcze nie było, ale widziało się leniwy i gnuśny pióropusz dymu który została w drodze a który teraz — niezbyt lotna chmura — zdany na własne środki wspinał się wolno po zielonych stokach Criquetot. Wreszcie małe pociąg — który ów dym wyprzedził, aby się wzbic pionowo — przybył zwolna. Czekaający podróżni usunęli się aby mu zrobić miejsce, bez pośpiechu, wiedząc że mają do czynienia z poczciwym piechurkiem — niemal ludzką istotą — który, prowadzony, niby rower początkującego cyklisty, życzliwymi sygnałami naczelnika stacji, pod potężną opieką maszynisty, nie groził wywróceniem nikogo i zatrzymałby się w razie potrzeby.

Depesza tłumaczyła telefon Verdurinów i trafiła doskonale, ile że we środę (pojutrze była właśnie środa) był stale wielki obiad u pani Verdurin w la Raspelière, jak w Paryżu, o czym nie wiedziałem. Pani Verdurin nie wydawała „obiadów”, ale miała „środy”. Jej środy to były dzieła sztuki. Wiedząc że nie mają nigdzie równych sobie, pani Verdurin wprowadzała w nie odcienie. „Ostatnia środa była mniej udana od poprzedniej — mówiła. Ale sądzę, że następna będzie jedną z najlepszych, jakie u siebie pamiętam”. Czasem przyznawała się wprost: „Ta środa nie była na wysokości. Ale obiecuję wam wielką niespodziankę na następną”. W ostatnich tygodniach paryskiego sezonu, przed wyjazdem na wieś, pani domu oznajmiała koniec *śród*. Była to sposobność do pobudzenia wiernych. „Już tylko trzy środy, już tylko dwie — mówiła tonem takim, jakby się świat miał skończyć. Nie opuści pan chyba przyszłej środy: to będzie pożegnalna”. Ale ten pożegnalny charakter był sztuczny, bo pani Verdurin uprzedzała: „Oficjalnie nie ma już *śród*. To była ostatnia w tym roku. Ale i tak będę w domu we środę. Będziemy środowali w swoim kółku; kto wie, te małe prywatne środy będą może najprzyjemniejsze”. W la Raspelière środy były z konieczności ograniczone; że zaś, spotkawszy jakiegoś znajomego bawiącego przejazdem, zapraszało się go na ten lub inny wieczór, środa była prawie codzien. „Nie przypominam już sobie dokładnie nazwisk, ale wiem, że będzie margrabina de Camembert”, powiedział *lift*; wszelkie wyjaśnienia dotyczące Cambremerów nie zdołały wyprzeć w nim dawnej nazwy, której znane i pełne znaczenia sylaby przychodziły z pomocą młodemu funkcjonarjuszowi, kiedy miał kłopot z tem trudnem nazwiskiem, i natychmiast przekładał je nad tamte i wracał do nich, nie przez lenistwo i nałóg, ale przez potrzebę logiki i jasności, jakiej sylaby te czyniły zadość.

Śpieszyliśmy czempredziej zająć pusty wagon, gdziebym mógł całować Albertynę przez całą drogę. Nie znalazłszy takiego, wsiedliśmy do przedziału, gdzie już była zainstalowana dama o olbrzymiej twarzy, brzydka, stara i jakby męska, bardzo wysztafirowana i czytająca „Revue des Deux-Mondes”. Mimo całej pospolitości, była pretensjonalna w swoich gustach; dociekałem dla zabawy, do jakiej klasy społecznej mogłaby należeć; zdecydowałem rychło, że to musi być jakaś gospodyni wielkiego domu publicznego, stręczycielka w podróży. Jej twarz, jej wzięcie krzyczały wprost o tem. Nie wiedziałem tylko, że owe damy czytają „Revue des Deux-Mondes”. Albertyna wskazała mi ją z uśmiechem, nie bez znaczącego przymrużenia oka. Dama zachowała minę nadzwyczaj godną; że zaś ja znowuż miałem świadomość, iż jestem na jutro proszony — krańcowy punkt kolejki — do sławnej pani Verdurin, że na pośredniej stacji oczekuje mnie Robert de Saint-Loup i że nieco dalej zrobiłbym wielką przyjemność pani de Cambremer zjeżdżając na dłużej do Féterne, oczy moje błyszczały ironią na widok tej imponującej damy, uważającej widocznie, że jej wyszukana toaleta, pióra na kapeluszu i „Revue des Deux Mondes” czynią

z niej figurę ważniejszą odemnie! Miałem nadzieję, że dama ta nie zostanie w wagonie o wiele dłużej od pana Nissima Bernard i że wysiądzie bodaj w Toutainville; ale nie. Pociąg zatrzymał się w Evreville, ona wciąż siedziała. Tak samo w Montmartin-sur-Mer, w Parville-la-Bingard, w Incarville; tak iż z rozpaczy, kiedy pociąg opuścił Saint-Frichoux, ostatnią stację przed Doncières, zacząłem ścisnąć Albertynę, nie troszcząc się o damę. W Doncières, Saint-Loup wyszedł po mnie na dworzec, z największymi trudnościami, jak powiedział, bo mieszkał u ciotki, depeszę moją dostał dopiero w tej chwili, i nie przygotowawszy się na to zawczasu, mógł mi poświęcić ledwie godzinę. Ta godzina wydała mi się, niestety, o wiele za długa, bo ledwie wysiedliśmy z wagonu, Albertyna zajęta była już tylko Robertem. Nie rozmawiała ze mną, ledwo odpowiadała kiedym się do niej zwracał, odepchnęła mnie kiedym się zbliżył. W zamian za to z Robertem śmiała się swoim kusicielskim śmiechem, paplała z nim bez końca, bawiła się z jego psem, a drażniąc się ze zwierzęciem, ocierała się umyślnie o pana. Przypomniałem sobie, że w dniu kiedy Albertyna pozwoliła mi się pierwszy raz pocałować, przesałem uśmiech wdzięczności nieznanemu uwodzicielowi, który spowodował w niej zmianę tak głęboką i tak mi ułatwił zadanie. Teraz myślałem o nim ze zgrozą.

Robert musiał sobie zdać sprawę, że Albertyna nie jest mi obojętna, bo nie odpowiadał na jej zaloty, co ją nastroiło wrogo dla mnie; potem zaczął rozmawiać ze mną tak jakbym był sam, co znów podniosło mnie w oczach Albertyny, kiedy to spostrzegła. Robert spytał, czy nie mam ochoty spotkać się z kolegami, z którymi jadaliśmy swego czasu co wieczór w Doncières; z tymi przynajmniej, którzy tam byli jeszcze. Że zaś sam nasiąkł drażniaco-pretensjonalną gwarą, którą potępiał, mówił: „Na co ci się zdało tak wytrwale *uprawiać* na nich *swoje czary*, jeżeli nie chcesz ich widzieć?” Odmówiłem, bo nie chciałem się rozstawać z Albertyną, ale także dlatego, że już odszedłem od nich. Od nich, to znaczy od siebie. Pragniemy namiętnie aby istniało drugie życie, gdziebyśmy byli podobni do tego czem jesteśmy na ziemi. Ale nie zastanawiamy się, że nawet nie czekając drugiego życia, w obecnym naszym życiu, po upływie kilku lat, jesteśmy niewierni temu czem byliśmy przedtem, czem pragnęliśmy zostać wiecznie. Nawet przyjmując że śmierć zmieniałaby nas nie więcej niż te zmiany zachodzące w ciągu życia, gdybyśmy w tem drugim istnieniu spotkali owo ja którym byliśmy niegdyś, odwrócilibyśmy się od siebie samych, niby od osób, z którymi było się w stosunkach niegdyś, ale których nie widziało się od dawna — jak naprzykład przyjaciół Roberta, których tak miło było mi spotykać co wieczór w *Faisan Doré*, a których towarzystwo byłoby mi teraz uciążliwe i męczące. Z tego punktu widzenia, i dlatego żem wolał nie szukać tego co mi niegdyś było mile, wycieczka do Doncières mogłaby mi zawczasu uprzytomnić przybycie do Raju. Dużo się marzy o Raju, lub raczej o licznych kolejnych rajach, ale to są wszystko — o wiele przed naszą śmiercią — raje stracone, gdzieby się człowiek czuł jak zabłąkany.

Saint-Loup zostawił nas na stacji. „Ale ty możesz tu mieć blisko godzinę czekania — rzekł. Jeżeli spędzisz tę godzinę tutaj, ujrzysz z pewnością wuja Charlus, który ma jechać pociągiem paryskim, dziesięć minut przed twoim. Już się z nim pożegnałem, bo muszę wracać przed odejściem jego pociągu. Nie mogłem mu powiedzieć o tobie, bo nie dostałem jeszcze wówczas twojej depeszy”.

Na wymówki, jakimi obsypałem Albertynę kiedy nas Saint-Loup pożegnał, odpowiedziała, że chłodem swoim w stosunku do mnie chciała na wszelki wypadek zatrzeć wrażenie jakie Robert mógłby odnieść, w razie gdyby, w chwili gdy pociąg stawał, widział mnie wspartego o nią i obejmującego ją czule. Saint-Loup zauważył w istocie tę pozę (nie spostrzegłem go, inaczej byłbym usiadł przyzwoiciej) i zdążył szepnąć mi do ucha: „Więc to są te gąski, o których mi mówiłeś, co to nie chciały zadawać się z panną de Stermaria, bo uważały że ma podejrzane maniery?” Powiedziałem w istocie Robertowi, i bardzo szczerze — wówczas kiedym się wybrał do niego z Paryża do Doncières i kiedysmy wspominali Balbec — że nie da się nic wskórać z Albertyną, że to wcielona cnota. A teraz, kiedym się oddawna przekonał osobiście, że to nieprawda, tembardziej pragnąłem, aby Robert tak myślał. Wystarczyłoby mi powiedzieć Robertowi, że kocham Albertynę. Był z rzędu ludzi, zdolnych sobie odmówić przyjemności, aby oszczędzić przyjacielowi cierpień, któreby odczuli jak własne. „Tak, ona jest straszny dzieciak. Ale ty nie wiesz o niej nic? — dodałem niespokojnie. — Nic, poza tem, że was widziałem gruchających jak para gołąbków”.

— Twoje zachowanie się nie zatarło nic a nic — rzekłem do Albertyny, gdy Saint-Loup nas pożegnał.

— To prawda — rzekła; — byłam niezręczna, zrobiłam ci przykrość, bardziej nad cię cierpię od ciebie. Zobaczysz, że już nigdy nie będę taka, daruj — rzekła, podając mi rękę ze smutną minką.

W tej chwili, z głębi sali czekalnej, gdzieśmy siedzieli, ujrzałem przechodzącego z wolna pana de Charlus, za którym w pewnej odległości tragarz niósł walizy.

W Paryżu, gdzie go spotykał tylko na wielkich przyjęciach, nieruchomego, opiętego we frak, wyprostowanego dumnie i utrzymywanego w tej postawie żądzą podobania się, racami swojej wymowy, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się postarzał. Teraz, gdy w jasnym ubraniu podróżnym, które go pogrubiało, szedł wyginając się, kołysząc wypukły brzuszek oraz niemal symboliczne siedzenie, wszystko to, co w sztucznym świetle imitowałyby świeżość cery młodego jeszcze człowieka, w okrucieństwie jasnego dnia rozkładało się na wargach na szminkę, na nosie na puder utrwalony coldkremem, a na czernidło na malowanych wąsach, których hebanowy kolor klócił się z siwiejącymi włosami.

Rozmawiając z baronem, ale krótko (bo pociąg jego odchodził), zerkalem ku Albertynie, dając znak, że zaraz przyjdę. Kiedym się znów zwrócił do pana de Charlus, poprosił, abym zechciał zawołać żołnierza, jego krewnego, który stał po przeciwnej stronie szyn, tak jakby miał wsiąść do naszego pociągu, ale w odwrotnym kierunku, w kierunku oddalającym się od Balbec. „On służy w muzyce pułkowej — rzekł p. de Charlus. — Jesteś, szczęśliwco, na tyle młody, ja zaś natyle stary, że mógłbyś mi oszczędzić kłopotu przechodzenia przez szyny”. Posłusznie udałem się w kierunku żołnierza i w istocie po haftowanych lirach na kołnierzu poznałem że służy w muzyce. Ale w chwili gdy się miał wywiązać ze zlecenia, jakież było moje zdumienie — mogę rzec radość kiedym stwierdził, że to jest Morel, syn kamerdynera mojego wuja, nasuwający mi tyle wspomnień. Zapomniałem o zleceniu pana de Charlus. „Jakto, pan w Doncieres? — Tak, wcielono mnie do muzyki w pułku artylerji”. Morel powiedział to oschle i wyniośle. Zrobił się wielki „pozer”, a oczywiście mój widok, przypominając mu zawód ojca, nie był mu przyjemny. Naraz ujrzałem pana de Charlus spadającego na nas. Zwłoka zniecierpliwiła go widocznie. „Chciałbym dziś posłuchać trochę muzyki — rzekł bez wstępów do Morela; — daję 500 franków za wieczór; możeby to zainteresowało kogoś z pańskich przyjaciół, o ile pan ich ma w pułkowej orkiestrze”. Mimo iż znałem impertynencję pana de Charlus, zdumiałem się, że on się nawet nie przywitał ze swoim młodym przyjacielem. Baron nie zostawił mi zresztą czasu na refleksje. Podając mi przyjaźnie rękę, rzekł: „Do widzenia, drogi panie”, aby zaznaczyć, że się mam zabierać. Zostawiłem zresztą aż nazbyt długo drogą Albertynę. „Patrz — rzekłem jej wracając do wagonu — życie kąpielisk i podróży dowodzi, że teatr świata rozporządza mniejszą ilością dekoracji niż aktorów, i mniejszą ilością aktorów niż »sytuacją«. — Z powodu czego to mówisz? — Bo p. de Charlus prosił mnie, żebym mu sprowadził jednego z jego przyjaciół, w którym właśnie przed chwilą, na peronie, poznałem znajomego”.

Ale, mówiąc to, zastanawiałem się, w jaki sposób baron mógł odgadnąć dysproporcję socjalną, o której nie pomyślałem. Przyszło mi zrazu na myśl, że to przez Jupiena, którego córka (jak czytelnik pamięta) wydawała się zajęta skrzypkami. Bardziej jeszcze zdumiało mnie, że na pięć minut przed odjazdem do Paryża, baron pragnie słuchać muzyki. Ale oglądając w pamięci córkę Jupiena, zaczynałem uważać, że „spotkania” wyrażałyby przeciwnie znaczną część życia, gdybyśmy się umieli posunąć do prawdziwej romantyczności; naraz doznałem olśnienia; zrozumiałem, że był bardzo naiwny. P. de Charlus nie znał ani trochę Morela, ani Morel pana de Charlus, który, olśniony ale zarazem onieśmielony mundurem — mimo że Morel miał na wylogach tylko lirę — prosił mnie, w swoim wzruszeniu, abym mu sprowadził tego młodego człowieka, nie podejrzewając że go mogę znać. W każdym razie, ofiarowane pięćset franków musiało zastąpić u Morela brak uprzednich stosunków, bo ujrzałem jak rozmawiali z baronem dalej, nie myśląc o tem że są tuż koło naszego pociągu. Przypominając sobie sposób, w jaki p. de Charlus podszedł do Morela i do mnie, ujrzałem w tem podobieństwo z niektórymi krewnymi barona, kiedy zaczepiali kobietę na ulicy. Przedmiot zmienił jedynie płęć. Począwszy od pewnego wieku — nawet przy bardzo specjalnej ewolucji charakteru — im bardziej się człowiek

staje sobą, tem silniej akcentują się w nim rysy rodzinne. Bo natura, tkając harmonijnie desenę swego dywanu, urozmaica monotonię kompozycji, dzięki różnaitości krzyżujących się wzorów. Zresztą wyniosłość z jaką p. de Charlus potraktował skrzypka, jest względna, zależnie od punktu widzenia jaki zajmujemy. Zrozumiałoby ją trzy czwarte światowców, którzy się gięli przed baronem, ale nie prefekt policji, który w kilka lat później kazał go nadzorować.

„Pociąg do Paryża wjeżdża, proszę pana — rzekł tragarz niosący walizy barona. — Ależ ja nie jadę, proszę oddać to wszystko na bagaż, cóż u diabła!” — wykrzyknął p. de Charlus, dając dwadzieścia franków tragarzowi, zdumionemu nagłą odmianą i oczarowanemu napiwkami. Hojność ta ściągnęła natychmiast kwiaciarke. „Niech pan weźmie te goździki, o jaka piękna róża, mój dobry panie, to panu przyniesie szczęście”. P. de Charlus, zniecierpliwiony, wręczył jej dwa franki, w zamian za co kobieta ofiarowała swoje błogosławieństwa, i kwiaty w naddatku. „Mój Boże, gdyby ona mogła nas zostawić w spokoju — rzekł p. de Charlus zwracając się ironicznym i boleściwym tonem, jak człowiek mocno zdenerwowany, do Morela, znajdując słodycz w tem, aby w nim szukać opieki. — To co sobie mamy do powiedzenia jest i tak dosyć skomplikowane”. Może zawiadowca stacji był jeszcze za blisko, a panu de Charlus nie zależało na licznym audytorjum; może te dygresje pozwalały jego wyniosłej nieśmiałości nie formułować zbyt nagle swoich propozycji. Zwracając się ze stanowczą i rozkazującą miną do kwiaciarke, muzyk podniósł dłoń, jakgdyby odsuwając ją i stwierdzając że jej kwiaty są niepożądane i że ma się coprędzej wynosić. P. de Charlus ujrzał z zachwytem ten stanowczy i męski gest, wyrażony zgrabną ręką, dla której zdawał się jeszcze za ciężki, zbyt masywny i brutalny; ręką zdradzającą ową przedwczesną energię i gibkość, które czyniły tego gołowasa podobnym do młodego Dawida, zdolnego podjąć walkę z Goljatem. Podziw barona mimowoli łączył się z owym uśmiechem, jaki mamy widząc u dziecka wyraz powagi ponad jego wiek. „Lubiłbym mieć takiego chłopca do towarzystwa w podróży i do pomocy w interesach. Jakby on uprościł moje życie!” — pomyślał p. de Charlus.

Pociąg paryski (do którego baron nie wszedł) odjechał. Potem my wsiedliśmy z Albertyną do naszego, tak iż nie mogłem wiedzieć, co się stało z panem de Charlus i z Morelem.

— Nie powinniśmy się już nigdy gniewać z sobą, przepraszam cię jeszcze raz — rzekła Albertyna, robiąc aluzję do sceny z Robertem. — Trzeba żebyśmy zawsze byli dobrzy dla siebie — rzekła czule. — Co się tyczy twojego przyjaciela, jeżeli sądzisz, że on mnie interesuje w jakiejbądź mierze, bardzo się mylisz. Podoba mi się w nim tylko to, że on ciebie wyraźnie tak kocha.

— Bo to jest bardzo dobry chłopiec — rzekłem strzegąc się użyć Robertowi urojonych przewag, czego bym nie omieszkał uczynić przez przyjaźń dla niego, w razie gdybym mówił do kogo innego, nie do Albertyny. — To człowiek zacny, szczery, oddany, lojalny, na którego można we wszystkim liczyć.

Mówiąc to, ograniczyłem się — powściągnięty zazdrością — do mówienia o Robertcie prawdy, ale też to com mówił było prawdą. Otóż, prawda ta wyrażała się ściśle w tych samych określeniach, jakich, mówiąc o nim, użyła pani de Villeparisis, wówczas gdy jeszcze nie znałem Roberta, kiedym go sobie wyobrażał tak innym, tak wyniosłym, i kiedym sobie powiadał: „Mówi się że jest dobry, bo jest wielki pan”. Tak samo, kiedy mi pani de Villeparisis powiedziała: „Byłby tak szczęśliwy”, wyobraziłem sobie, ujrawszy Roberta wsiadającego przed hotelem do kabrioletu, że słowa ciotki były prostym towarzyskim banałem, mającym mi pochlebić. I zrozumiałem później, że ona mówiła szczerze, myśląc o tem co mnie interesowało, o moich lekturach, dlatego że wiedziała że właśnie Robert ubóstwia to wszystko, tak samo jak mnie się zdarzyło powiedzieć szczerze komuś piszącemu historję swego przodka La Rochefoucauld, autora *Maksym*, i pragnącemu prosić Roberta o radę: „Będzie tak szczęśliwy”. Bo nauczyłem się go znać. Ale widząc go pierwszy raz, nie przypuszczałem, aby inteligencja pokrewna mojej mogła się łączyć z takim wykwintem stroju i wzięcia. Sądziłem Roberta z jego upierzenia jak istotę innego gatunku. I teraz Albertyna, może trochę dlatego, że Saint-Loup, przez dobroć dla mnie, był z nią tak chłodny, powiedziała to, com ja myślał niegdyś: „A, taki jest oddany! Uważam, że odkrywa się zawsze wszystkie cnoty w ludziach, kiedy są z arystokracji”. Otóż, o tem że Saint-Loup jest arystokratą, że jest z faubourg Saint-Germain, o tem nie pomyśla-



lem ani razu w ciągu tych lat, w których odzierając się ze swoich przewag, ukazał mi swoje przymioty. Typowa zmiana perspektywy w patrzeniu na ludzi, już bardziej uderzająca w przyjaźni niż w zwykłych stosunkach, ale o ileż bardziej jeszcze w miłości, gdzie pragnienie posiada tak szeroką skalę, tak wyolbrzymia najłżejsze oznaki chłodu, że wystarczyło mi ich o wiele mniej niż w pierwszej chwili poznania Roberta, abym od razu uwierzył że Albertyna mną gardzi, abym sobie wyroił jej przyjaciółki jako istoty cudownie nieludzkie, i abym jedynie pobłażaniem Elstira dla urody i dla pewnej elegancji tłumaczył sobie jego sąd, kiedy mówił o małej „bandzie” zupełnie w tym samym duchu co pani de Villeparisis o Robercie: „To dobre dziewczęta”. Otóż czyż ten sąd nie pokrywał się z sądem, jaki byłbym skłonny wydać teraz, kiedym usłyszał z ust Albertyny te słowa: „Niech będzie wreszcie jaki chce, mam nadzieję nie ujrzeć go już na oczy, skoro był powodem zwady między nami. Nie trzeba się już kłócić. To nie ładnie”.

Fakt że Albertyna zdawała się pożądliwie spoglądać na Roberta, uleczył mnie niemal na jakiś czas z posądzania jej o skłonność do kobiet; jedno wydawało mi się nie do pogodzenia z drugim. I wobec gumowego płaszcza Albertyny, w którym była jakby inną osobą, niestrudzoną pielgrzymką dżdżystych dni, płaszcza który, przylegający ściśle, podatny i szary, zdawał się w tej chwili nietyle chronić jej suknię od wody, ile, zmoczony wodą, oblepiać ciało tak jakby miał zdejmować odcisk jej kształtów dla jakiego rzeźbiarza, zdarłem tę tunikę, zazdrośnie obejmując upragnioną pierś, i przyciągając Albertynę, rzekłem: „Czy nie chcesz, ty, senna podróżniczko, pomarzyć skłoniwszy głowę na mojem ramieniu?” Tak rzekłem, ujmując jej głowę w ręce i wskazując wielkie łąki zalane i nie-me, rozciągające się w zapadającym zmierzchu aż po widnokrąg, zamknięty równoległymi łańcuchami dalekich i sinych pagórków.

Pojutrze, w sławną środę, w tej samej kolejce, do której wsiadłem w Balbec aby się udać na obiad do Raspelière, pilnowałem się bardzo, aby nie prześlepić doktora Cottard w Graincourt-Saint-Vast, gdzie, w myśl nowego telefonu od pani Verdurin, miałem go spotkać. Miał wsiąść do mojego pociągu i pokazać mi gdzie trzeba wysiąść aby zastać powozy, wysłane z la Raspelière na stację. Ponieważ kolejka zatrzymywała się tylko chwilę w Graincourt (pierwszej stacji po Doncières), zawczasu stanąłem w oknie, tak dalece się bałem, że nie zobaczę Cottarda lub że on mnie nie zobaczy. Próżne obawy! Nie zdałem sobie sprawy, do jakiego stopnia „klanik” urobił wiernych wedle jednego wzoru, tak że wszystkich — zresztą w galowych strojach — łatwo było rozpoznać na peronie po specjalnym wyrazie pewności siebie, szyku i poufalości, po spojrzeniach, które przebywały — niby pustą przestrzeń, niczem nie zatrzymującą uwagi — zwarte szeregi pospolitej publiczności, śledząc pojawienie się jakiegoś wiernego, który wsiadł na poprzedniej stacyjce, i iskrząc się zawczasu bliską rozmową. Ta cecha wybranych, którą koleżeństwo obiadów naznaczyło członków „paczki”, odróżniała ich nietylko wówczas, kiedy, będąc w przeważającej liczbie, skupili się, tworząc świetniejszą plamę pośród gromady podróżnych — Brichot nazywał ich *pecus* — na których martwych twarzach nie można było wyczytać żadnej wiedzy o Verdurinach, ani nadziei obiadu w la Raspelière. Zresztą ci pospolici podróżni mniej byliby przejęci odemnie, gdyby przy nich wymówiono nazwiska „wiernych”, mimo że niektóre były sławne: co do mnie, podziwiałem, że oni wciąż chodzą na prośzone obiady, gdy wielu z nich czyniło to — wedle tego com wiedział z tradycji — przed mojem urodzeniem, w epoce natyle odległej i mglistej zarazem, że byłem skłonny przeceniać jej dawność. Kontrast między trwaniem nietylko ich sposobu życia ale i pełni ich sił, a zagładą tylu przyjaciół, którzy już w moich oczach znikli, budził we mnie to samo uczucie, jakiego doznajemy, kiedy w „ostatnich wiadomościach” dziennika wyczytamy nowinę, którejśmy się najmniej spodziewali, naprzykład o jakimś zgonie przedwczesnym i dla nas przypadkowym, bo jego przyczyny pozostały nam nieznanne. Rodzi się stąd uczucie, że śmierć nie dosięga równocześnie wszystkich ludzi, ale że dalej wysunięta fala jej tragicznego przypływu porywa życie znajdujące się na poziomie innych, które długo jeszcze oszczędzą następne fale. Ujrzymy zresztą później, że rozmaitość krążących niewidzialnie śmierci jest przyczyną specjalnej niespodzianki, jaką stanowi w dziennikach rubryka nekrologów.

Następnie zrozumiałem, że z czasem nietylko rzeczywiste dary, mogące współlistnieć z najgorszą trywialnością rozmowy, ujawniają się i narzucają, ale również to że mierne jednostki dochodzą do wysokich stanowisk, związanych w wyobraźni naszego dziecięc-

twa z jakimiś sławnymi starcami, przyczem nie zastanawialiśmy się, że po pewnej ilości lat staną się nimi ich uczniowie, zostawszy mistrzami i budzący teraz cześć i lęk, jakie sami odczuwali niegdyś. Ale jeżeli *pecus* nie znał nazwisk wiernych, wygląd ich wszelako ściągał oczy gminu. Nawet w pociągu (kiedy traf zgromadził ich owego dnia razem, tak że mieli już tylko zabrać na najbliższej stacji jakiegoś „odyńca”), wagon w którym znaleźli się społem, sygnowany przez lokieć rzeźbiarza Skiego, powiewający flagą *Temps* w rękach Cottarda, zakwitał zdaleka jak luksusowy wóz i wabił na właściwej stacyjce zapóźnionego kompana. Jedynym, którego uwagi mogłyby ująć te znaki ziemi obiecanej, był Brichot, a to z przyczyny całkowitej niemal ślepoty. Ale też jeden z wiernych obejmował dobrowolnie wobec niewidomego profesora funkcje czatownika: z chwilą gdy ujrano jego słomkowy kapelusz, zielony parasol i niebieskie okulary, kierowano go łagodnie i z pośpiechem ku uprzywilejowanemu wagonowi. Tak iż nie zdarzało się, aby który z wiernych, bez ściągnięcia najcięższych posądzeń o „lumpkę” lub wręcz o to że nie przyjechał pociągiem, nie odnalazł kompanów w ciągu drogi. Czasem zdarzało się coś przeciwnego: wierny musiał jechać dość daleko w ciągu popołudnia i tem samym odbył część drogi sam, zanim się połączył z gromadką; ale nawet odosobniony w ten sposób, sam ze swego gatunku, sprawiał pewne wrażenie. Przyszłość ku której płynął, zwracała nań uwagę osoby siedzącej naprzeciwko, która powiadała sobie: „To musi być nie byle kto”; dostrzegła, bodaj dokoła miękkiego kapelusza Cottarda lub rzeźbiarza lekką aureolę i nie była zanadto zdziwiona, kiedy na następnej stacji elegancki tłum (o ile to był końcowy punkt podróży) witał „wiernego” u drzwiczek wagonu i szedł wraz z nim do czekających na stacji powozów, wśród niskich ukłonów urzędnika stacji Doville. O ile to było na wcześniejszej stacji, tłum ten wdzierał się do wagonu. Co właśnie uczyniła — i to z pośpiechem, bo wielu przybyło późno, w chwili gdy pociąg już stojący na stacji miał ruszać — gromada, którą Cottard wiódł biegiem ku wagonowi, widząc w oknie moje sygnały.

Brichot, znajdujący się pośród tych „wiernych”, stał się tem wierniejszy w ciągu lat, które zmniejszyły gorliwość wielu innych. Słabnący stopniowo wzrok kazał mu, nawet w Paryżu, coraz bardziej ograniczać wieczorną pracę. Nie czuł zresztą sympatji do Nowej Sorbony, w której niemiecka ścisłość naukowa zaczynała górować nad humanizmem. Ograniczał się teraz wyłącznie do wykładów i do komisji egzaminacyjnych, toteż mógł wiele czasu poświęcić życiu światowemu, to znaczy wieczorom u Verdurinów, lub tym, które ktoś z wiernych, drżąc z emocji, wyprawiał czasem dla Verdurinów. Prawda, że na dwa zawody miłość omal nie sprawiła tego, czego nie mogła już uczynić praca, grożąc wyrwaniem Brichota z „paczki”. Ale pani Verdurin miała oko; zresztą, przywykły do tego dla dobra swego salonu, z czasem zaczęła znajdować bezinteresowną przyjemność w tego rodzaju dramatach i egzekucjach. Poróżniła tedy Brichota bez ratunku z niebezpieczną osobą, umiejac — jak mówiła — „zrobić porządek” i „wypalić ranę rozżarzonem żelazem”. Z jedną z niebezpiecznych osób poszło jej łatwo, ile że to była poprostu praczka Brichota: pani Verdurin, mającej o każdej porze wstęp na piąte piętro profesora, szkarłatnego z dumy kiedy raczyła wstąpić pod jego dach, wystarczyło poprostu wyrzucić za drzwi tę prostą kobietę. „Jakto — rzekła pryncypałka do Brichota — kobieta taka jak ja czyni panu ten zaszczyt że bywa u pana, a pan przyjmuje taką kreaturę?” Brichot nie zapomniał nigdy usługi, jaką mu oddała pani Verdurin, nie pozwalając jego starości ugrzęznąć w błocie; przywiązywał się do niej coraz bardziej, podczas gdy przez kontrast z tym przyplwem przyjaźni i może z jego powodu — pryncypałka zaczęła sobie brzydzić nazbyt uległego „wiernego”, oraz posłuszeństwo, którego pewna była zgóry.

Ale zadowolenie u Verdurinów dawało Brichotowi blask, który go wyróżniał wśród kolegów w Sorbonie. Byli olśnieni opowiadaniem o obiadach, na które sami nie dostaną się nigdy, wzmiankami o Brichocie w artykułach lub jego portretem w Salonie — pióra głośnego pisarza lub pendzla malarza, których talent inne filary Fakultetu ceniły, nie mając widoków ściągnięcia ich uwagi. Imponowała im wreszcie elegancja światowego filozofa, którą brali zrazu za zaniedbanie, aż im kolega dobrotliwie wytłumaczył, że cylinder można stawiać w czasie wizyty na podłodze, nie jest zaś on na miejscu na wsi, choćby na najwytworniejszym obiedzie: wówczas zastępuje go miękki kapelusz, bardzo odpowiedni do smokinga.

Przez pierwsze sekundy kiedy gromadka pakowała się do wagonu, nie mogłem nawet mówić z Cottardem, zdyszany nie tyle tem że biegł aby dopaść pociągu, ile tem że go złapał na czas. To było więcej niż radość że się coś powiodło; była to niemal wesołość z udanego figla. „Haha, to paradne! — rzekł doktor ochłonawszy nieco. — Jeszcze chwila! Tam do licha! to nazywam znaleźć się w kropce!” — dodał mrużąc oko, nie aby wyrazić wątpliwość czy wyrażenie jest trafne — bo doktor aż kipiał pewnością siebie — ale aby dać folgę swemu zadowoleniu.

Wreszcie profesor mógł mnie zapoznać z resztą „paczki”. Z przykrością ujrzałem, że prawie wszyscy są w stroju, który w Paryżu nazywa się smokingiem. Zapomniałem, że Verdurinowie zaczynali odbywać nieśmiałą ewolucję w kierunku „świata”, opóźnioną przez sprawę Dreyfusa, przyspieszoną przez „nową” muzykę; ewolucję której zresztą przeczyli i której mieli przeczyć aż do osiągnięcia celu. To były niby operacje wojenne, które wódz oznajmia aż wówczas kiedy ich dokonał, aby nie wyglądać na pobitego o ile mu się nie udadzą. Świat był zresztą bardzo skłonny wyjść naprzeciw Verdurinów. Na razie widział w nich ludzi, u których nie bywa nikt z towarzystwa, ale którzy się tem bynajmniej nie martwią. Salon ich uchodził za świątynię muzyki. To tam — twierdzono — Vinteuil znalazł natchnienie, zachętę. Otóż, o ile sonata Vinteuila była wciąż całkowicie niezrozumiana i prawie nieznaną, nazwisko jego, wymawiane jako nazwisko największego współczesnego muzyka, miało ogromny urok. Niektórzy panicze z arystokracji uznali że powinni być tak wykształceni jak „osoby z miasta”; było między nimi trzech, którzy studjowali muzykę i u których sonata Vinteuila cieszyła się olbrzymią reputacją. Wróciwszy do domu, opowiadali o niej inteligentnej matce, której zawdzięczali bodziec artystyczny. I matki te, interesując się studjami synów, patrzyły na koncercie z odcieniem szacunku na panią Verdurin, która w łoży tuż przy scenie śledziła partyturę.

Dotąd, ta utajona światowość Verdurinów wyraziła się dopiero dwoma faktami. Z jednej strony, pani Verdurin mówiła o księżnej de Caprarola: „O, to osoba inteligentna, bardzo miła kobieta. Czego nie mogę znieść, to głupców, nudziarzy; przyprowadzają mnie o szaleństwo”. Z czego sprytniejszy trochę człowiek odgadłby może, że księżna de Caprarola, osoba z największego świata, była z wizytą u pani Verdurin. Wymówiła nawet nazwisko Verdurinów w czasie wizyty kondolencyjnej, jaką złożyła pani Swann po śmierci męża, i spytała Odety czy ich zna. „Jak pani powiada? — odparła Odeta z miną nagle posmutniałą. — Verdurin. — Och, już wiem — rzekła boleściwie tamta — nie znam ich, lub raczej znam ich pośrednio, spotykałam ich niegdyś u znajomych, dawno temu, to mili ludzie”. Skoro księżna de Caprarola wyszła, Odeta żalowała, że nie powiedziała po prostu prawdy. Ale doraźne kłamstwo nie było wynikiem rachuby, lecz syntezą jej obaw i pragnień. Przeczyła nie temu czemu zrzęcniej było zaprzeczyć, ale temu co chciałaby wymazać, nawet gdyby interlokutor miał się dowiedzieć za godzinę, że naprawdę istniało. Wkrótce potem odzyskała pewność siebie, uprzedzała nawet pytania, aby się nie zdawało że się ich boi: „Pani Verdurin? ależ oczywiście, znałam ją bardzo dobrze” mówiła z afektowaną prostotą wielkiej damy, która opowiada że wsiadła do tramwaju. „Dużo mówią o Verdurinach od jakiegoś czasu” — mówiła pani de Souvré. Na co Odeta z uśmiechem arystokratycznej wzgardy odpowiadała: „Ależ tak, zdaje się w istocie że dużo o nich mówią. Od czasu do czasu zjawiają się w towarzystwie tacy nowi ludzie” — mówiła, bez poczucia że sama jest jedną z najnowszych. „Księżna de Caprarola była u nich na obiedzie podjęła pani de Souvré. — A, odparła Odeta podkreślając słowa uśmiechem — to mnie nie dziwi. Zawsze od księżnej Caprarola zaczynają się te rzeczy, a potem przychodzi druga, na przykład hrabina Molé”. Odeta mówiła z odcieniem najwyższej wzgardy dla tych dwóch wielkich dam, mających zwyczaj „osuszać tynk” w świeżo otwartych salonach. Czuć było z tonu, że to znaczy, iż jej samej, jak i pani de Souvré, nie wzięłoby się na to.

Po uznaniu dla inteligencji księżnej Caprarola, jakie wyraziła pani Verdurin, drugim znakiem, że Verdurinowie mieli świadomość swego przyszłego losu, był fakt, iż bardzo tego pragnęli (rozumie się nie żądali tego formalnie) aby przychodzić do nich na obiad w wieczorowym stroju. Siostrzeniec pana Verdurin, ten którego „naprhali”, mógłby mu się teraz ukłonić bez wstydu.

Wśród osób, które wsiadły do mojego wagonu w Graincourt, znajdował się Saniette, którego niegdyś wypędził od Verdurinów krewny jego Forcheville ale który wrócił. Jego

wady, że światowego punktu widzenia były niegdyś — mimo cennych przymiotów — nieco pokrewne z wadami Cottarda; nieśmiałość, chęć przypochlebiania, bezpłodne wysiłki w tym celu. Ale, o ile życie, dając przywdziać Cottardowi (jeżeli nie u Verdurinów, gdzie — przez sugestję jaką wywiera na nas przeszłość, kiedy się znajdziemy w dawnym środowisku — został potrosze ten sam, to przynajmniej w jego praktyce, w szpitalu, w Akademii medycznej) pozory chłodu, wzgardy, powagi, silniej zaakcentowane wówczas gdy produkował przed chętnymi uczniami swoje kalambury, stworzyło istną przepaść między dawnym a obecnym Cottardem, przeciwnie te same wady spotęgowały się u Saniette'a, w miarę jak się z nich starał poprawić. Czując że często nudzi, że go nie słuchają, zamiast zwolnić dykcję, tak jakby to zrobił Cottard, zamiast apodyktycznym tonem wymusić uwagę, Saniette nie tylko starał się żarcikami okupić zbyt poważny charakter swoich enuncjacji, ale mówił coraz prędzej, zamazywał słowa, używał skrótów aby być zwięźlejszy i swobodniejszy, i osiągał tylko tyle, że jego opowiadania, niezrozumiałe, wlokły się tem samem bez końca. Nie miał tej pewności siebie co Cottard, który mroził pacjentów; kiedy ktoś później słał uprzejmość profesora w towarzystwie, odpowiadali: „Tak, ale to jest inny człowiek kiedy cię przyjmuje w swoim gabinecie, kiedy siedzisz w pełnym świetle a on plecami do światła i kiedy cię świdruje oczami. Natarczywość Saniette'a nie imponowała; czuć było że kryje zbyt wiele nieśmiałości, że lada co wystarczyłoby aby ją spłoszyć. Saniette, któremu przyjaciele zawsze mówili że za mało ufa sobie i który w istocie widział, jak ludzie niewątpliwie od niego niżsi z łatwością osiągną jemu niedostępne sukcesy, rozpoczynając jakąś historyjkę, sam uśmiechał się zgóry, z obawy iż poważna mina zgasiłaby humor opowiadania. Czasem, na kredyt wesołości, którą mina Saniette'a zdawała się wróżyć, słuchano go w powszechnem milczeniu. Ale dowcip stale pudłował. Jakiś poczciwy sąsiad słał czasem Saniette'owi prywatną, niemal sekretną zachętę zawartą w uśmiechu, używając mu jej ukradkiem, dyskretnie, tak jak się wsuwa banknot. Ale nikt nie posuwał się aż do przyjęcia odpowiedzialności, do zaryzykowania publicznej aprobaty wybuchem śmiechu. A kiedy historyjka była już skończona i pogrzebana, zrozpaczony Saniette długo uśmiechał się do siebie, jakgdyby znajdując w swoim dowcipie osobistą — niby to wystarczającą mu — przyjemność, której inni nie doznali.

Rzeźbiarza Ski zwano tak dla trudności jaką sprawiało jego polskie nazwisko i ponieważ on sam, od czasu jak żył w tem kółku, udawał że nie chce aby go mieszano z krewnymi, którzy byli bardzo dobrze sytuowani, trochę nudni i nader liczni. Przy swoich czterdziestu pięciu latach i wybitnej brzydocie, miał on rodzaj chłopięcego rozpieszczenia, które zachował stąd, że był, do dziesiątego roku życia, uroczem cudownem dzieckiem, ulubieńcem dam. Pani Verdurin twierdziła, że on jest bardziej artystą od Elstira. Miał zresztą z Elstirem pewne wspólne cechy, ale czysto zewnętrzne. Wystarczyły one, aby Elstir, który raz spotkał Skiego, powziął doń ową głęboką odrazę, jaką budzą w nas, bardziej jeszcze od istot całkiem od nas różnych, ci co są do nas podobni w gorszym wydaniu, ujawniający to co w nas jest lichsze, wady z którychśmy się wyleczyli; tacy przypominają nam w przykry sposób to, czem mogliśmy się wydawać niektórym ludziom, nim staliśmy się czem jesteśmy. Ale pani Verdurin uważała, że Ski ma więcej fantazji niż Elstir, ponieważ nie było rodzaju sztuki, w którym by nie osiągał łatwych sukcesów. Pani Verdurin wierzyła, że ta łatwość uzyskiwała wspaniałe wyniki, gdyby Ski był mniej leniwy. Lenistwo to wydawało się pryncypałe jednym darem więcej, jako przeciwieństwo pracy, którą uważała za los ludzi bez talentu. Ski malował co kto chciał, na spinkach do mankietów, na supraportach; śpiewał bez głosu, grał z pamięci dając na fortepianie złudzenie orkiestry, nietylę swoją wirtuozyją, ile przez fałszywe basy, zastępujące niezdolność zaznaczenia że w danem miejscu ma być piston, który zresztą Ski naśladował ustami. I tak jak opóźniał akord, który zablagożywał później, powiadając „Ping!”, aby dać złudzenie blachy, tak samo dobierał słów mających sugerować ciekawe wrażenie, dzięki czemu uchodził za wspaniałą inteligencję, mimo że idee jego były w rzeczywistości skąpe i ubogie. Znudzony swoją reputacją oryginała, uparł się dowieść, że jest człowiekiem praktycznym, rzeczowym, stąd zwycięska manja fałszywej precyzji, fałszywego zdrowego rozsądku — obciążone brakiem pamięci i stałą nieścisłością informacji. Jego ruchy głowy, szyi, nóg, byłyby pełne wdzięku, gdyby miał jeszcze dziewięć lat, pukle blond, wielki koronkowy kołnierz i czerwone safianowe buciki.

Przybywszy wcześniej z Cottardem i Brichotem na stację Graincourt, zostawili Brichota w poczekalni i poszli się przejść trochę. Kiedy Cottard chciał wracać, Ski odpowiedział: „Ależ jest masa czasu. Dziś nie jest pociąg lokalny, ale departamentalny”. Zachwycony wrażeniem, jakie ta precyzja wywarła na Cottardzie, Ski dodał, mówiąc o sobie: „Tak, dlatego że Ski kocha sztukę, że paćka się w glinie, wszyscy myślą, że on nie może być praktyczny. Nikt nie zna tej linii lepiej odemnie”. Mimo to, kiedy wracali na stację, naraz spostrzegając dym nadjeżdżającej kolejki, Cottard ryknął: „Prędko, prędko, wyciągać pedały!” W istocie ledwo zdążyli, bo różnica między pociągiem lokalnym a departamentalnym istniała jedynie w wyobraźni rzeźbiarza.

— Ale czy księżnej niema w pociągu? — spytał donośnym głosem Brichot, którego ogromne okulary — błyszczące jak owe reflektory które laryngolog przymocowuje na czole aby oświetlić gardło chorego — zdawały się czerpać życie z oczu profesora i — może wskutek wysiłku, jaki wkładał w to aby zestroić swój wzrok z niemi — zdawały się same, nawet w zupełnie obojętnych momentach, patrzeć z wytężoną bacznością i napięciem. Zresztą choroba, odbierając pomału wzrok Brichotowi, odsłoniła mu uroki tego zmysłu, jak często aby docenić jakiś przedmiot, aby go żałować, trzeba się rozstać z nim, darować go naprzykład.

— Nie, nie, księżna odwoziła do Maineville gości pani Verdurin na pociąg paryski. Możliwe nawet jest, że pani Verdurin, która miała coś załatwić w Saint-Mars, wybrała się z nią! W ten sposób jechałaby z nami, odbylibyśmy drogę wszyscy razem, to byłoby urocze. Trzeba będzie dobrze wypatrywać oczy w Maineville. Haha, bagatela, można powiedzieć, żeśmy o mało co nie przegapili sprawy. Kiedym zobaczył pociąg, zatknęło mnie poprostu. To się nazywa przybyć w momencie psychologicznym. Pomyślcie tylko, gdybyśmy nie złapali pociągu, pani Verdurin patrzy, patrzy, a tu powozy zajeżdżają bez nas: awantura! — dodał doktor, który jeszcze nie ochłonął ze wzruszenia. To się nazywa historia nie banalna. Powiedz pan, profesorze, co pan sądzi o naszej eskapadzie? — spytał doktor z odcieniem dumy.

— Na honor — odparł Brichot — w istocie, gdybyście nie złapali pociągu, to byłby (jakby powiedział nieboszczyk Villemain) cios w samo serce Francji.

Ale ja, zaabsorbowany z początku obecnością tylu nieznajomych, przypomniałem sobie nagle to, co mi Cottard rzekł w sali małego kasyna; jakgdyby niewidzialne ogniwo mogło połączyć jakiś zmysł z obrazami pamięci, widok Albertyny opierającej się piersiami o piersi Anny zabolął mnie straszliwie w sercu. Ból ten nie trwał długo: myśl o przypuszczalnych jej stosunkach z kobietami nie wydawała mi się już możebna od przedwczoraj, odkąd jej zalotność w stosunku do Roberta wzniciła we mnie nową zazdrość, zasuważąc w cień poprzednią. Miałem naiwność ludzi, którzy sądzą, że jedna skłonność wyklucza nieodzownie inną.

W Haranbonville, ponieważ pociąg był pełny, wieśniak w niebieskiej bluzie, mający bilet trzeciej klasy, wsiadł do naszego przedziału. Doktor, uważając że nie można dopuścić aby księżna jechała z tym człowiekiem, sprowadził konduktora, pokazał swoją kartę lekarza wielkiego towarzystwa kolejowego i zmusił naczelnika stacji do usunięcia wieśniaka. Scena ta zasmuciła i zaniepokoiła do tego stopnia trwożliwego Saniette, że zaraz z początku, bojąc się, dla mnogości chłopów znajdujących się na peronie, aby nie doszło do awantury, udał że go brzuch boli i, aby oddalić od siebie wszelką odpowiedzialność za brutalność doktora, wymknął się na korytarz, udając że szuka tego, co Cottard nazywał *water*. Nie znalazłszy, przyglądał się krajobrazowi z drugiego końca pociągu.

— Jeżeli to są pańskie pierwsze kroki u pani Verdurin — rzekł do mnie Brichot, który chciał rozwinąć talenty przed nowicjuszem — zobacz pan, że niema środowiska, gdzieby się bardziej czuło „słodczy życia”, jak powiadał niegdyś jeden z wynalazców dyletantyzmu, sceptycyzmu, wielu słów kończących się na „izm”, ulubionych naszym snobinetkom; mam na myśli *Monsieur le prince de Talleyrand*.

Bo, kiedy Brichot mówił o owych wielkich panach z przeszłości, uważał za dowcipne i „w kolorze epoki” poprzedzać ich tytuł słowem *Monsieur* i powiadał *Monsieur le duc de la Rochefoucauld*, *Monsieur le Cardinal de Retz*, których nazywał również od czasu do czasu: „Ten *struggle-for-lifer* Gondi”, ten „bulanżysta Marcillac”. I kiedy mówił o Monteskiuszu, nie omieszkwał nigdy nazywać go z uśmiechem: „pan prezydent Secondat de Montesquieu”. Inteligentnego światowca drażniłby może ten pedantyzm bakałarza. Ale w doskonałych

manierach światowca — gdy mówi o którymś z panujących — jest także pedantyzm, zdradzający odrębną kastę, tę gdzie się poprzedza imię Wilhelm tytułem „cesarz”, i gdzie się mówi do książęcej Wysokości w trzeciej osobie.

— Inna rzecz — ciągnął Brichot mówiąc o „*Monsieur le prince de Talleyrand*” — że przed tym panem trzeba się nisko uklonić. To jest protoplasta!

— To urocze środowisko! — rzekł do mnie Cottard — znajdzie pan tam potrosze wszystko, bo pani Verdurin nie jest ekskluzywna. Znajdzie pan znakomitych uczonych, jak Brichot, wysoką arystokrację jak np. księżna Szerbatow, wielka dama rosyjska, przyjaciółka Wielkiej księżnej Eudoksji, którą widuje nawet sam na sam w porze gdy Wielka Księżna nikogo nie przyjmuje.

W istocie, Wielka księżna Eudoksja, nie mając zbytnej ochoty, aby księżna Szerbatow, której oddawna nikt nie przyjmował, odwiedzała ją wtedy kiedy mogli być goście, poleciła jej przychodzić jedynie bardzo wcześnie, kiedy Jej Wysokość nie miała u siebie nikogo z przyjaciół, dla których spotkanie z księżną Szerbatow byłoby równie krępujące jak dla niej. Od trzech lat, ledwie wyszedłszy — niby jaka manikurzystka — od Wielkiej księżnej, pani Szerbatow spieszyła do pani Verdurin (która dopiero co się obudziła) aby jej już nie opuścić. Można rzec, że wierność księżnej Szerbatow przewyższała nieskończenie nawet wierność Brichota, tak pilnego wszelako na tych *środach*, gdzie miał tę rozkosz, że się czuł w Paryżu niby Chateaubriandem w Abbaye-aux-Bois, na wsi zaś wyobrażał sobie, że się stał ekwiwalentem tego, czem mógłby być u pani du Châtelet ten, którego nazywał zawsze, z filuternością i zadowoleniem humanisty, „panem de Voltaire”.

Brak stosunków pozwolił księżnej Szerbatow dochowywać od wielu lat Verdurinom wierności, która czyniła z niej więcej niż zwykłą „wierną”; wierność doprowadzoną do ideału, który długo pani Verdurin uważała za nieosiągalny, a który, doszedłszy krytycznego wieku, znalazła wreszcie wcielony w tę nową zdobycz kobiecą. Mimo iż najgorliwsi wierni znali zachłanność pryncypalki, nie zdarzało się, aby nie „puścili jej” niekiedy. Najbardziej zadomowieni ulegli pokusie jakiejś podróży, najsurowsi wdali się w jakiś romansik; najzdrowsi mogli załapać grypę, najmniej czynni mogli mieć ćwiczenia wojskowe, najmniej czuli musieli zamknąć oczy umierającej matce. I napróżno pani Verdurin powiadała im wówczas, jak cesarzowa rzymska, że ona jest jedynym wodzem, którego powinna słuchać jego legja, jak Chrystusa lub Kaizera; że ten co kocha ojca i matkę tyle co ją, wzdragając się opuścić ich aby iść za nią, nie jest jej godny; że zamiast rozpieszczać się leżeniem w łóżku lub dać się wodzić za nos dziewczce, lepiejby uczynili pędząc czas z nią, jedynym lekarstwem i jedyną rozkoszą. Ale los, który lubi czasami upiększyć schylek przydługich istnień, pozwolił pani Verdurin spotkać księżnę Szerbatow. Poróżniona z rodziną, wygnana z kraju, nie znając już nikogo poza baronową Putbus i wielką księżną Eudoksją, księżna Szerbatow chodziła do nich tylko rano, bo o ile ona sama nie miała ochoty spotykać przyjaciółek baronowej, Wielka księżna znowuż nie miała ochoty aby jej przyjaciółki spotykały księżnę Szerbatow. O tej porze pani Verdurin jeszcze spała. Księżnej nie zdarzyło się zostać bodaj przez jeden dzień w domu, od czasu kiedy, mając dwanaście lat przeszła odrę. Jednego roku, dnia 31 grudnia, kiedy pani Verdurin, bojąc się że będzie osamotniona, spytała księżnej, czy nie mogłaby u niej zostać niespodzianie na noc, mimo Nowego Roku, ta odparła: „Ależ, droga pani, cóżby mnie mogło od tego wstrzymać w jakikolwiek dzień roku? Zresztą, to jest dzień przeznaczony dla rodziny, a pani jesteś moją rodziną”. Mieszkając w pensjonacie i zmieniając pensjonat o ile Verdurinowie się przeprowadzali, układając wedle nich swoje wilegiatury, księżna tak dobrze zrealizowała dla pani Verdurin wiersz Alfreda de Vigny

Tyś mi ziściła cel pragnień jedyny,

że pryncypalka, pragnąc sobie zapewnić „wierną” nawet po śmierci, wymogła że ta z nich, która przeżyje drugą, każe się pochować obok niej. Obcym — a do *obcych* trzeba zawsze liczyć osobę, której kłamiemy najwięcej, jako tej której wzgarda byłaby nam najprzykrejsza: nas samych — księżna Szerbatow starała się wmówić, że jej trzy jedyne przyjaźnie — Wielka księżna, Verdurinowie, baronowa Putbus — są w istocie jedyne; nie dlatego że niezależnie od jej woli kataklizmy ocaliły je pośród generalnego rozbicia, ale mocą wolnego wyboru. Ten wybór jakoby kazał księżnej przelożyć te stosunki nad

wszystkie inne, wrodzone zaś upodobanie w samotności i prostocie kazało się jej do nich ograniczyć. „Nie widuję *nikogo* więcej” — powiadała, kładąc nacisk na niezłomny charakter tego faktu, mającego oblicze raczej reguły jaką ktoś sobie nakłada, niż konieczności której ulega. Dodawała: „Bywam jedynie w trzech domach”; jak autorowie, którzy bojąc się, że nie zdołają dociągnąć do czwartego wieczoru, oznajmniają, że ich sztuka pójdzie tylko trzy razy. Czy oboje państwo Verdurin wierzyli w tę fikcję czy nie, faktem jest, że pomogli księżnej wszczepić ją w umysły wiernych. Ci wierzyli święcie i w to, że księżna Szerbatow, pośród tysiąca stosunków, jakie miała do wyboru, wybrała jedynych Verdurinów, i w to, że Verdurinowie, daremnie oblegani przez cały wielki świat, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz księżnej Szerbatow.

W ich oczach, księżna, zbyt przerastająca umysłem swoją sferę aby się w niej mogła nie nudzić, wśród tylu ludzi z którymi mogłaby przestawać, upodobała sobie jedynie Verdurinów, a nawzajem ci, nieczuli na awanse całej arystokracji, która im otwierała ramiona, zgodzili się uczynić tylko jeden wyjątek na rzecz wielkiej damy, inteligentniejszej od innych — księżnej Szerbatow.

Księżna była bardzo bogata; miała na wszystkich premierach wielką parterową lożę, dokąd, z upoważnieniem pani Verdurin, zapraszała wiernych, i nikogo poza nimi. Pokazywano sobie tę zagadkową i bladą osobę, która zestarzała się nie siwiejąc, raczej rudziejąc, jak niektóre trwale i pomarszczone owoce na krzewie. Podziwiano zarazem jej wpływy i skromność, mając bowiem zawsze z sobą akademika Brichot, sławnego uczonego Cottard, pierwszego pianistę epoki, a później pana de Charlus wybierała jednak umyślnie lożę najciemniejszą, siedziała cały czas w głębi, nie zajmowała się w najlżejszej mierze widzami, żyła wyłącznie dla małej gromadki, która, nieco przed końcem przedstawienia, opuszczała lożę, idąc za tą dziwną władczynią, nie pozbawioną nieśmiałości, fascynującego i zwiędłego wdzięku. Otóż, jeżeli pani Szerbatow nie patrzyła na salę, jeżeli pozostawała w cieniu, to aby starać się zapomnieć, że istnieje świat żywych, który namiętnie — i daremnie — pragnęła poznać: stałe towarzystwo w loży było dla niej tem, czem jest dla pewnych zwierząt niemal że trupia martwota w obliczu niebezpieczeństwa. Mimo to, pociąg do nowości i ciekawość trawiące ludzi światowych, były przyczyną, że ci użyczyli może więcej uwagi tajemniczej nieznałomej, niż sławom z frontowych łóż, gdzie wszyscy składali wizyty. Wyobrażano sobie, że ona jest inna niż osoby które się znało; że jakaś cudowna inteligencja połączona z subtelną dobrocią wiąże do niej tę grupkę ludzi niepospolitych. Czasem, kiedy przy niej mówiono o kimś lub kiedy jej przedstawiano kogoś, księżna musiała udawać lodowaty chłód, aby podtrzymać fikcję swego wstępu do świata. Mimo to, przy pomocy Cottarda lub pani Verdurin, paru nowym osobom udało się ją poznać; wówczas, upojona tą znajomością, zapominała legendy dobrowolnego samotnictwa i zgrywała się bez miary dla przybysza. Jeśli to było jakieś zero, wszyscy się dziwili. „Szczególna rzecz — mówiono że księżna, która nie chce znać nikogo, robi wyjątek dla tej tak mało interesującej figury”. Ale te zapładniające znajomości były rzadkie, księżna żyła ściśle skazana na wiernych.

Cottard mawiał o wiele częściej: „Zobaczę Iksa we środę u Verdurinów”, niż: „Zobaczę Iksa we wtorek w Akademji”. Mówił o środach jak o zatrudnieniu równie ważnym i równie nieuchronnym. Zresztą, Cottard należał do tych niezbyt rozrywanych ludzi, którzy poczytują sobie za obowiązek stawić się na zaproszenie, tak jakby to był rozkaz, wezwanie wojskowe lub sądowe. Musiał mieć bardzo ważne konsyljum, aby „puścić” Verdurinów we środę; przyczem o ważności decydowało raczej stanowisko chorego niż ciężkość choroby. Bo Cottard, mimo iż dobry człowiek, wyrzekł się słodczy środy nie dla udaru sercowego prostego robotnika, ale dla kataru ministra. A i wówczas mówił do żony: „Pamiętaj mnie wytłumaczyć przed panią Verdurin. Uprzedź ją, przyjdę później. Ta Ekscelencja mogłaby wybrać sobie inny dzień na swój katar”. Kiedy pewnej środy stara kucharka Cottardów przecięła sobie żyłę na przedramieniu, doktor, już wybierający się w smokingu do Verdurinów, wzruszył ramionami, kiedy go żona nieśmiało spytała, czy nie mógłby opatrzyć rannej: „Ależ nie mogę, Leontyno — wykrzyknął boleściwie; widzisz przecie, że mam białą kamizelkę”. Aby nie drażnić męża, pani Cottard sprowadziła coprędzej z kliniki asystenta. Ten, aby przybyć prędzej, wziął fiakra, tak że wehikul jego wjeżdżał w dziedziniec w chwili gdy doktor wyjeżdżał powozem do Verdurinów; stracono pięć minut na mijaniu się, cofaniu. Pani Cottard była zażenowana tem, że asystent widzi

męża w wieczorowym stroju. Cottard kłął na spóźnienie, może przez wyrzut sumienia, i pojechał w fatalnym humorze, tak iż trzeba było wszystkich rozkoszy środy, aby ten zły humor rozprószyć.

Jeżeli pacjent Cottarda pytał: — „Czy pan widuje kiedy Guermantów?” profesor z najlepszą wiarą odpowiadał: „Może nie specjalnie Guermantów, sam nie wiem. Ale spotykam cały ten światek u swoich przyjaciół. Słyszał pan z pewnością o Verdurinach. Znają cały świat. A przytem oni, to przynajmniej nie są fummy na goło. Ludzie odpowiedzialni. Powszechnie szacują panią Verdurin na trzydzieści pięć milionów. Ba, trzydzieści pięć milionów, to jest coś! Toteż ona nie żałuje omasty. Mówił pan o księżnej Guermantes. Powiem panu różnicę: pani Verdurin to całą głębią dama, u księżnej de Guermantes jest z pewnością bryndza. Rozumie pan ten odcień, nieprawdaż? W każdym razie, czy Guermantowie bywają u pani Verdurin czy nie, ona przyjmuje lepszych; Szerbatow, Forcheville, *tutti quanti*, ludzie najwyższej sfery, kwiat Francji i Nawarry, ludzie z którymi rozmawiam sobie za panbrat. Zresztą ten gatunek osób chętnie poszukuje towarzystwa potentatów wiedzy” — dodał z uśmiechem błęgiego zadowolenia, płynącego nietyle stąd, że epitet będący niegdyś przywilejem Potainów i Charcotów przypada teraz jemu, ile że umie wreszcie we właściwy sposób użyć wszystkich uświęconych zwrotów, które, po długich studjach, posiadał na wylot. Toteż, zacytował mi księżną Szerbatow między osobami które przyjmuje pani Verdurin, Cottard dodał, mrużąc oko: „Rozumie pan typ tego domu, pojmujecie pan co ja chcę powiedzieć?” Chciał powiedzieć, że to jest ostatni wyraz „szyku”. Otóż, przyjmować rosyjską damę, która znała tylko Wielką księżną Eudoksję, to było bardzo niewiele. Ale gdyby nawet księżna Szerbatow nie znała Wielkiej księżnej, nie umniejszałoby to opinii, jaką miał Cottard co do arcy-elegancji salonu Verdurinów, ani jego rozkoszy bywania u nich, świetność, jaką przybierają w naszych oczach salony, nie bardziej jest autentyczna, niż świetność wielkich figur w teatrze: zupełnie zbyteczne jest, aby dyrektor teatru wydawał setki tysięcy na autentyczne kostiumy i prawdziwe klejnoty, które nie zrobiłyby żadnego efektu, podczas gdy artysta dekorator da wrażenie tysięcy razy wspanialszego zbytku, rzucając promień sztucznego światła na grubą płócienny kaftan usiany kawałkami szkła i na płaszcz uszyty z papieru. Niejeden spędził życie pośród możnych tego świata, którzy byli dlań tylko nudnymi krewnymi lub uprzykrzonymi znajomymi, bo przyzwyczajenie od dziecka odarło ich z wszelkiego blasku. Ale wzamian wystarczyło, że ten blask oblał jakimś przypadkiem najpokątniejsze osoby, aby niezliczeni Cottardowie żyli olśnieni utytułowanymi kobietami, których salon brali za centrum arystokratycznej elegancji, podczas gdy one nie były nawet tem, czem była pani de Villeparisis i jej przyjaciółki (zdegradowane wielkie damy, z którymi arystokracja, chowana z niemi od dziecka, nie chciała przestawać); gdyby tacy pisali pamiętniki i przytoczyli imiona owych kobiet (których przyjaźń była ich dumą), oraz tych co tam bywali, nikt — zarówno pani de Cambremer jak pani de Guermantes — nie zdołałby ich zidentyfikować. Ale cóż to znaczy! Jakiś Cottard ma w ten sposób swoją markizę, która jest dlań „baronową”, jak u Marivaux, baronową, której nazwiska nie wymawia się nigdy, tak że wogóle nie przychodzi na myśl, że ona ma jakieś nazwisko. I Cottard myśli, że w niej streszcza się arystokracja — która nie wie o istnieniu tej damy — tem bardziej, że im tytuły wątpliwsze, tem więcej zajmują miejsca korony na szkle, na srebrze, na papierze listowym, na kuferkach. Liczni Cottardowie, którzy myśleli iż pędzą życie w sercu faubourg Saint-Germain, mieli wyobraźnię bardziej może urzeczoną feudalnymi marzeniami, niż ci co naprawdę żyli blisko z książętami krwi, tak samo jak kupczyk, który wybierze się czasem w niedzielę oglądać architekturę „starych czasów”, często najbardziej podziwia średniowiecze w tych budowlach, w których wszystkie kamienie są nowoczesne, sklepienie zaś pomalowali na niebiesko i usiali złotem gwiazdami uczniowie Viollet-le-Duca.

— Księżna wsiądzie w Maineville. Będzie jechała z nami. Ale nie przedstawię pana zaraz. Lepiej że by to zrobiła sama pani Verdurin. Chyba że znajdzie sposobność jakiegoś nawiązania: w takim razie może pan być pewny, że ją pochwycę.

— O czem mówiliście panowie — spytał Saniette, który udał, że chciał odetchnąć powietrzem.

— Cytowałem — rzekł Brichot — słówko — zna je pan z pewnością — tego, który jest, mojem zdaniem, pierwszym *schyłkowcem* (ze schyłku wieku XVIII, rozumie się), rze-



czonego Charles Maurice, abbe de Perigord. Zaczął od tego, że się zapowiadał na pierwszorzędnego dziennikarza. Ale wykoleił się; chcę powiedzieć, że został ministrem! Życie miewa takie katastrofy. Polityk zresztą mało skrupulatny, który z dezinwolturną urodzonego arystokraty, nie wahał się pracować chwilami *dla króla Prus* — to przysłowie nadaje się tu idealnie — i skończył w skórze lewego centrowca.

W Saint-Pierre-des-Ifs wsiadła wspaniała młoda dziewczyna, która niestety nie należała do naszej gromadki. Nie mogłem oderwać oczu od jej magnoljowego ciała, czarnych oczu, od wspaniałej i dumnej postaci. Po sekundzie chciała otworzyć okno, bo było trochę gorąco w przedziale; nie chcąc zaś prosić o pozwolenie wszystkich, ponieważ ja jeden byłem bez płaszcza, rzekła do mnie szybkim, świeżym i roześmianym głosem: „Czy nie zaszkodzi panu trochę powietrza?” Miałem ochotę odpowiedzieć: „Niech pani jedzie z nami do Verdurinów”. Albo: „Niech mi pani powie swoje nazwisko i adres”. Odpowiedziałem: „Nie, pani, powietrze mi nie szkodzi”. Poczem, nie ruszając się z miejsca, rzekła: „A czy dym nie szkodzi pańskiemu towarzystwu?” I zapaliła papierosa. Na trzeciej stacji wysiadła jednym susem. Nazajutrz, spytałem Albertyny, ktoby to mógł być. Bo, w swojej głupocie, sądząc że można kochać tylko jedno, zazdrosny o zachowanie się Albertyny z Robertem, uspokoiłem się co do kobiet. Albertyna odpowiedziała — zdaje się bardzo szczerze — że nie wie. „Tak bym ją chciał odnaleźć! — wykrzyknąłem. — Uspokój się, ludzie się zawsze odnajdują” — odparła Albertyna. W tym wypadku myliła się, nigdy nie odnalazłem ładnej dziewczyny z papierosem, ani nie dowiedziałem się o niej. Pokaże się zresztą, czemu przez długi czas musiałem przestać jej szukać. Ale nie zapomniałem. Zdarza mi się często, myśląc o niej, odczuwać szaloną tęsknotę. Ale te nawroty pragnień uprzytomniają nam, że gdyby się chciało odnaleźć taką młodą dziewczynę z równą przyjemnością, trzeba by również cofnąć się w rok, od którego upłynęło dziesięć innych lat, w czasie których dziewczyna miała czas zwiędnąć. Można niekiedy odnaleźć jakąś istotę, ale nie zniweczyć czasu. Wszystko to, aż do nieprzewidzianego dnia, smutnego jak noc zimowa, kiedy się już nie szuka tej, ani żadnej innej, kiedy znalezienie jej przeraziłoby nas może! Bo nie czujemy w sobie dość powabów aby się podobać, ani dość siły aby kochać. Nie dlatego, rozumie się, aby się było w ścisłym znaczeniu słowa „impotentem”. A co się tyczy kochania, kochałoby się bardziej niż kiedykolwiek. Ale czuje się, że to za wielkie przedsięwzięcie na tych niewiele sił, jakie nam zostało. Wiekuisty spokój narzucił nam już okresy, w których nie podobna nam wyjść z domu ani mówić. Postawić nogę na właściwym schodzie, to sukces taki, jak nie chybić *salto mortale*. Pokazać się w tym stanie dziewczynie którą się kocha, nawet jeśli się zachowało dawną twarz i wszystkie blond włosy młodzieńca! Nie sposób już podjąć fatygi dotrzymania kroku młodości. Tem gorzej, jeżeli fizyczne pożądanie zdwaja się zamiast słabnąć! Sprowadza się dla jego zaspokojenia kobietę, której nie silimy się podobać, która podzieli przez jeden wieczór nasze łóżko i której nie ujrzemy już nigdy.

— Wciąż nie ma nowin o naszym skrzypku — rzekł Cottard. Zdarzeniem dnia w „paczce” było w istocie zniknięcie ulubionego skrzypka pani Verdurin. Ów, odbywając służbę wojskową koło Doncières, przybywał trzy razy w tygodniu na obiad do Raspelière, bo miał stałą przepustkę do północy. Otóż, przedwczoraj, pierwszy raz wierni nie zdołali go odszukać w kolejce. Przypuszczano że się spóźnił. Ale daremnie pani Verdurin posyłała na następny pociąg, w końcu na ostatni, powóz wrócił próżny.

— Z pewnością musiał załapać areszt, niema innego wytłumaczenia. Ba, wiadomo, w wojsku wystarczy złego humoru sierżanta.

— Jeżeli Morel skrewi jeszcze tym razem — rzekł Brichot — to będzie bardzo przykre dla pani Verdurin. Nasza miła gosposia ma właśnie pierwszy raz na obiedzie sąsiadów, od których wynajęła la Raspelière: margrabiostwo de Cambremer.

— Dziś wieczór margrabiostwo de Cambremer! — wykrzyknął Cottard. Ależ ja nic nie wiedziałem. Oczywiście, wiedziałem, jak i wy, że mają być kiedyś, ale nie wiedziałem że

tak prędko. Do paralusza — rzekł zwracając się do mnie — cóż ja panu mówiłem: księżna Szerbatow, margrabiostwo de Cambremer! — I, powtórzywszy parę razy te nazwiska, upajając się ich melodią, doktor dodał:

— Widzi pan, że my tu sobie nie odmawiamy niczego. Niema co, jak na pierwszą wizytę, dobrze pan trafił. To będzie zebranko szczególnie udane.

I, obracając się do Brichota, dodał:

— Pryncypalka musi być wściekła. Ostatni czas, żebyśmy jej przybyli z odsieczą.

Od czasu jak pani Verdurin bawiła w la Raspelière, udawała wobec wiernych, że jest istotnie zmuszona, ku swojej rozpacz, zaprosić jeden raz właścicieli tej posiadłości. Użyła w ten sposób lepsze warunki na przyszły rok (mówiła); robi to wyłącznie z interesu. Ale twierdziła, że tak się tego boi, że tak przerażające dla niej jest mieć na obiedzie ludzi z poza swojej „paczki”, że wciąż to odkłada. Przerażała ją to zresztą trochę z pobudek jakiegłosiła przesadnie; z drugiej strony, zachwycało ją z racji snobistycznych, które wołała zataić. Była tedy nawpół szczerą; wierzyła, że jej paczka jest czemś tak jedynym, zespołem na którego stworzenie trzeba było wieków, że drżała na myśl wprowadzenia w nią mieszkańców prowincji, niezających *Tetralogji* ani *Norymberskich* nie zdolnych odegrać swojej partji w koncercie ogólnej rozmowy i mogących, przybyciem swoim do pani Verdurin, zniweczyć jedną ze sławnych śród, nieporównanych i kruchych arcydzieł, podobnych do owych weneckich szkieł, które jedna fałszywa nuta może strzaskać.

— Co więcej, to muszą być ludzie jak tylko może być *anty* (anty dreyfusisci, oczywiście) i militaryści — rzekł p. Verdurin.

— Och, co to, to mi wszystko jedno, za długo już zajmuje się świat tą historją — odparła pani Verdurin, która, będąc szczerą dreyfusistką, byłaby jednak rada w sławie swego dreyfusistowskiego salonu znaleźć światową rekompensatę. Otóż, dreyfusizm tryumfował politycznie, ale nie światowo. Labori, Reinach, Picquart, Zola, to wciąż byli dla ludzi światowych „zdrajcy” i mogli ich jedynie odstręczyć. Toteż po tym wypadzie w politykę, pani Verdurin pragnęła wrócić do sztuki. Zresztą d’Indy, Debussy, czy nie byli nieprawomyślni w tej sprawie?

— Co się tyczy Sprawy, wystarczy ich poprostu posadzić koło Brichota — rzekła (profesor — jedyny z wiernych — trzymał stronę generalnego sztabu, co go bardzo zdeprecjonowało w oczach pani Verdurin). Nie musi się wicznie mówić o Dreyfusie. Nie, doprawdy, nudzą mnie te Cambremery!

Co się tyczy „wiernych”, równie podnieconych skrytą żądzą poznania Cambremarów, jak oszukanych udaniem znudzeniem pani Verdurin tą wizytą, ci, rozmawiając z nią, powtarzali codziennie płaskie argumenty, jakimi ona sama tłumaczyła to zaproszenie. I powtarzając te argumenty, starali się zwiększyć ich wagę.

— Niech się pani raz zdecyduje — powtarzał Cottard — a zyska pani opust na komornem; zapłacą ogrodnika, będzie pani miała używalność łąki. Wszystko to warte jest aby się przenużyć jeden wieczór. Mówię tylko dla pani — dodał, mimo że serce zabiło mu kiedy raz, jadąc powozem pani Verdurin, minął landarę starej pani de Cambremer, a zwłaszcza że się czuł upokorzony wobec funkcjonarjuszy kolejowych, kiedy się znalazł na stacji w pobliżu margrabiego. Cambremerowie znowuż byli zbyt daleko od prawdziwego „świata” aby móc się nawet domyślać, że niektóre eleganckie kobiety mówiły z uznaniem o pani Verdurin; toteż wyobrażali sobie, że to jest kobieta żyjąca w towarzystwie samych cyganów (może nawet „nieślubna”) i, co się tyczy ludzi „urodzonych”, nie mająca nadziei oglądania nikogo prócz nich, państwa de Cambremer. Zdecydowali się na ten obiad jedynie dla zachowania dobrych stosunków z lokatorami, których spodziewali się zatrzymać na szereg lat, zwłaszcza dowiedziawszy się przed miesiącem, że Verdurinowie odziedziczyli tyle milionów. W milczeniu tedy i bez niesmacznych żarcików, gotowali się na nieszczęsny dzień. „Wierni” nie spodziewali się już aby ten dzień przyszedł kiedy, tyle razy pani Verdurin oznajmiała im wciąż przesuwaną datę. Wahania te miały na celu nietylko popisanie się wstrętem do owego obiadu, ale trzymanie w gotowości tych członków paczki, którzy mieszkali w sąsiedztwie a którzy lubili czasem „chodzić na wagary”. Nie iżby pryncypalka zgadywała, że ów wielki dzień jest dla nich równie upragniony jak dla niej samej, ale dlatego, że przekonawszy ich iż ten obiad jest dla niej najokropniejszą piłą, mogła się odwołać do ich poświęcenia:

— Nie zostawicie mnie przecie samą z tymi chińczykami! — mówiła. — Przeciwnie, trzeba nam być jak najliczniej, aby znieść te nudy. Oczywiście, nie będziemy mogli mówić o niczem co nas interesuje. Ot, jedna środa zmarnowana, cóż robić!

— W istocie — odparł Brichot, zwracając się do mnie — sądzę, iż pani Verdurin, która jest bardzo inteligentna i lubi wypieścić każdą ze swoich *śródek*, nie miała zbytnej ochoty zapraszać tych szlachciurów wysokiego rodu ale skąpego dowcipu. Nie mogła się zdobyć na zaproszenie starej margrabiny, ale pogodziła się z wizytą młodszych państwa.

— A, ujrzemy młodą markizę de Cambremer? — rzekł Cottard z uśmiechem, który czuł się w obowiązku zabarwić jurnością i *mariwodazem*, mimo iż nie wiedział, czy pani de Cambremer jest ładna czy nie. Ale sam tytuł *markizy* budził w nim ponętne i frywolne obrazy.

— A! ja ją znam — rzekł Ski, który spotkał raz panią de Cambremer towarzysząc na spacerze pani Verdurin.

— Nie zna jej pan w sensie biblijnym — rzekł, rzucając z pod binokli dwuznaczne spojrzenie, doktor (był to jego ulubiony żarcik).

— Inteligentna jest — rzekł do mnie Ski. — Oczywiście — rzekł, widząc że ja nic nie mówię i podkreślając uśmiechem każde słowo — jest inteligentna i nie jest, brakuje jej wykształcenia; jest pusta, ale ma pewien zmysł artystyczny. Może milczeć, ale nie powie żadnego głupstwa. A przytem ładna jest w kolorze. To byłby zajmujący portret do zrobienia — dodał przyzymkając oczy, jakgdyby ją widział pozującą.

Ponieważ miałem poglądy wręcz przeciwne tym, które Ski wyrażał z takim bogactwem odcieni, ograniczyłem się do nadmienienia, że margrabina jest siostrą wybitnego inżyniera, pana Legrandin.

— Hehe, no i widzi pan, będzie pan przedstawiony ładnej kobiecie — rzekł do mnie Brichot; a nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Kleopatra nie była nawet wielką damą, to była mała kobietka, niepoczytalna i groźna mała kobietka w stylu naszego Meilhaca, a widzi pan, co z tego wynikło nietylko dla tego dudka Antonjusza, ale dla całej starożytności.

— Byłem już przedstawiony pani de Cambremer — odparłem.

— Och, w takim razie znajdzie się pan w swoim kółku.

— Tem bardziej się cieszę na to spotkanie — odparłem — że pani de Cambremer obiecała mi dziełko dawnego proboszcza z Combray, traktujące o nazwach miejscowości w tych stronach, i będę mógł jej przypomnieć obietnicę. Bardzo mnie interesuje ten ksiądz, a także etymologje.

— Niech pan zanadto nie polega na tych, które on podaje — odparł Brichot. Dziełko, które znajduje się w la Raspeliere i które przeglądałem potrosze dla zabawy, niewiele budzi we mnie zaufania, roi się od błędów. Dam panu przykład. Słowo *Bricq* wchodzi w formację mnóstwa nazw miejscowości w tych stronach. Zaczny ksiądz wpadł na dosyć dziki pomysł, że ono pochodzi od *Briga*, wyżyna, miejsce warowne. Widzi je już u starodawnych ludów celtyckich, u Latobrigów, Nemetobrigów; doszukuje się go zgoła w nazwiskach takich jak Briand, Brion, etc... Aby wrócić do miejscowości, którą mam przyjemność mijać w tej chwili wraz z panem, *Bricquebose* znaczyłoby laszek na wzgórzu, *Bricqueville* osadę na wzgórzu, *Bricquebec*, gdzie się zatrzymamy na chwilę przed Maineville, wyżynę w pobliżu strumienia. Otóż to wcale nie jest tak, z tej przyczyny że *bricq* to jest stare słowo normandzkie, oznaczające poprostu most. To samo słowo *fleur*, które protegowany pani de Cambremer łączy z nieskończonym trudem to ze skandynawskimi *floi*, *flo*, to z irlandzkim *ae*, *aer*, jest przeciwnie, bez żadnej wątpliwości, duńskim *fiordem* i znaczy port. Tak samo przezaczny ksiądz sądzi, że stacja Saint-Martin-le-Vêtu, sąsiadująca z la Raspeliere, znaczy święty Marcin stary (*vetus*). To pewna że słowo *vieux* odegrało wielką rolę w toponymji tej okolicy. *Vieux* pochodzi naogół od *vadum* i oznacza bród, jak w miejscu zwanem *Les Vieux*. To jest to, co Anglicy nazywali *ford* (Oxford, Hereford). Ale w danym wypadku *vieux* nie pochodzi od *vetus*, ale od *vastatus*, miejsce ogołocone, nagie. Ma pan niedaleko stąd Sottevast, czyli *vast* Setolda, Brillevast czyli *vast* Berolda. Jestem tem pewniejszy omyłki proboszcza, ile że Saint-Martin-Le-Vieux nazywało się niegdyś Saint-Martin-du-Gast a nawet Saint-Martin-de-Terregate. Otóż *v* i *g* w tych słowach, to jest ta sama litera. Mówi się *déuaster* — niszczyć — ale także *gacher*. *Jâchères* (ugór) i *gatine* (od hochdeutsch: *wastinna*) mają to samo znaczenie: za tem

*Terregate*, to jest *terra vasta*. Co do Saint-Mars, niegdyś (uczciwszy uszy) Saint-Merd, to jest *Sanctus Medardus* który jest kolejno Saint-Médard, Saint-Mard, Saint-Marc, Cirq-Mars, a nawet zgoła Dammas. Nie trzeba zresztą zapominać, że bardzo blisko stąd, miejscowości noszące to samo imię Marsa stwierdzają poprostu pochodzenie pogańskie (bóg Mars), które pozostało żywe w tej okolicy, ale którego ów świątobliwy człowiek wzbrania się uznać. Wyniosłości poświęcone bogom są specjalnie bardzo liczne, jak góra Jowisza (Jeumont). Proboszcz nie chce tego widzieć; w zamian za to, wszędzie gdzie chrystianizm zostawił ślady, przeocza je również. Dotarł w swoich wyprawach do *Loc-tudy*: nazwa barbarzyńska (powiada), podczas gdy to jest *Locus sancti Tudenii*; toż samo w Sammarcoles nie odgadł *Sanctus Martialis*. Pański proboszcz — ciągnął Brichot, widząc że mnie zajął — wyprowadza słowa na *hon, home, holm*, od *holi* (hullus), pagórek, (*colline*), podczas gdy one pochodzą od normandzkiego *holm*, wyspa, które pan odnajdzie łatwo w *Stockholm*, a które w całej tej okolicy jest tak rozpowszechnione: la Houleme, Engohomme, Tahoume, Robehomme, Néhomme, Quettehon, etc.

Te nazwy przypomniały mi dzień, w którym Albertyna chciała jechać do Amfreville-la-Bigot (od nazwiska dwóch kolejnych dziedziców, objaśnił mnie Brichot), poczem, jak mi proponowała, mieliśmy zjeść obiad w Robehomme. Co się tyczy Montmartin, mieliśmy tamtędy przejeżdżać za chwilę.

— Czy Néhomme — spytałem — nie leży blisko Carquehuit i Clitourps?

— Oczywiście; Néhomme to jest *holm*, wyspa lub półwysp sławnego wicehrabiego Nigela, którego nazwisko przetrwało także w *Néville*. Carquethuit i Clitourps, które pan wspomniął, są dla protegowanego pani de Cambremer okazją do nowych błędów. Bez wątpienia, on rozumie, że *Carque* to kościół, niemieckie *Kirche*. Zna pan Querqueville, nie mówiąc o Dunkerque. Bo lepiej byłoby w takim razie zatrzymać się przy tem sławnem słowie *Dun*, które dla Celtów oznaczało wyżynę. I to odnajdzie pan po całej Francji. Pańskiego księdza urzekło *Duneville*, powtarzające się w departamencie Eureet-Loire; znalazłby Châteaudun, Dun-le-Roi w departamencie Cher, Duneau w Sarthe, Dun w Ariège, Dune-les-Places w Nièvre, etc, etc. To *Dun* nasuwa mu ciekawy błąd w tem co dotyczy Douville, gdzie zaraz wysiadziemy i gdzie nas czekają wygodne pojazdy pani Verdurin. Douville, po łacinie *don villa* — powiada ksiądz. W istocie, Douville znajduje się u stóp znacznych wyniosłości. Pański proboszcz, który wie wszystko, czuje jednak że strzelił baka. Przeczytał w istocie w jakimś starym rejestrze beneficjów: *Domvilla*. Zatem cofa się; Douville, wedle niego, to jest lenno opata — *Domino Abbati* z Mont-Saint-Michel. Ucieszył się z tego, co jest dosyć dziwne, kiedy się pomyśli o skandalicznym życiu, jakie od czasu *Kapitularda* Sainte-Claire prowadzono w Mont-Saint-Michel i byłoby nie bardziej dziwne, niż widzieć króla duńskiego suzerenem całego tego wybrzeża, gdzie o wiele gorliwiej szerzył kult Odina niż kult Chrystusa. Z drugiej strony, przypuszczenie że *n* zmieniło się w *m* nie razi mnie i jest mniejszą deformacją niż bardzo poprawny Lyon, który również pochodzi od *Dun* (Lugdunum). Ale koniec końców, ksiądz się myli. Douville nigdy nie zwało się Douville, ale Denville, *Eudonis Villa*, wioska Eudes. Douville nazywało się niegdyś Escacleiff, schody zbocza. Około r. 1223 Eudes Piwniczny, pan na Escacleiff, wybrał się do Ziemi Świętej; w chwili wyjazdu przekazał kościół opactwu Blanchelande. Przez wzajemną kurtuazję, wioska przybrała jego imię, stąd obecnie *Douville*. Ale dodam, że toponymia, w której jestem zresztą bardzo ciemny, nie jest wiedzą ścisłą; gdybyśmy nie mieli tego historycznego świadectwa, Douville mogłoby bardzo dobrze pochodzić od wody: *Ouille*, to znaczy *Les Eaux*. Formy na *ai* (Aigues-Mortes) od *aqua*, woda, zmieniają się bardzo często na *eu* albo na *ou*. Otóż w pobliżu Douville były słynne wody Carquebut. Wyobraża pan sobie, jak proboszcz był uszczęśliwiony, że znalazł tam ślad chrześcijański, mimo że ten kraj musiał być dość oporny dla ewangelji, trzeba było aby się nad nim męczyli kolejno święty Ursal, święty Gofroi, święty Barsanore, święty Wawrzyniec z Bredent, który w końcu „puścił passę” na rzecz mnichów z Beaubec. Ale co do *tuit*, autor się myli, widzi w tem formę *toft*, rudera, jak w Criquetot, Ectot, Yvetot, podczas gdy to jest *thveit*, karczowisko, jak w Braquetuit, Thuit, Regnetuit, etc. Tak samo, o ile poznaje w Clitourps normandzkie *thorp*, co znaczy wioskę, chce aby pierwsza część nazwy pochodziła od *clivus*, spadek, podczas gdy pochodzi od *cliff*, skała. Ale najgrubsze baki proboszcza wynikają nietylę z jego niewiedzy, ile z jego uprze-

dzeń. Choćby się było najlepszym Francuzem, czyż można przeczyć oczywistości i brać Saint-Laurent en Bray za tak znanego księdza rzymskiego, wówczas gdy chodzi o Saint-Lawrence "Toot, arcybiskupa Dublina. Ale bardziej jeszcze od uczuć patriotycznych, uprzedzenia religijne pańskiego przyjaciela popychają go do grubych błędów. I tak, niedaleko od naszych gospodarzy z la Raspelière masz pan dwa Montmartin: Montmartin-sur-Mer i Montmartin-en-Graignes. Co do Graignes, zacny ksiądz nie popełnił błędu; zgadł że Graignes, po łacinie *Grania*, po grecku *Krene*, znaczy stawy, bagna; ileż można by zacytować Cresmays, Croen, Gremeville, Lengronne? Ale co do Montmartin, pański rzekomy lingwista uparł się, że to chodzi o parafie poświęcone świętemu Marcinowi. Opiera się na tem, że ów święty jest ich patronem; ale nie zdaje sobie sprawy, że wzięto go za patrona dopiero *ex post*; lub raczej zaślepiony jest nienawiścią do pogaństwa; nie chce widzieć, że gdyby chodziło o świętego Marcina, mówionoby Mont-Saint-Martin, jak się mówi Mont-Saint-Michel; podczas gdy nazwa Montmartin odnosi się w sposób o wiele bardziej pogański — do świątyni poświęconych bogowi Marsowi, świątyni których nie posiadamy to prawda innych śladów, ale którym ich niezaprzeczone obecność w sąsiedztwie rozległych obozów rzymskich dawałaby wszelkie prawdopodobieństwo nawet bez nazwy Montmartin, rozstrzygającej wątpliwość. Widzi pan, że ta książeczka, którą pan znajdzie w la Raspelière, nie należy do najlepszych.

Nadmieniłem, że jednak proboszcz z Combray często podawał nam ciekawe etymologie.

— Był może bardziej na swoim gruncie, podróż do Normandji wykoleiła go.

— A nie wyleczyła — dodałem — bo przybył tu z neurastenią, a wrócił z reumatyzmem.

— A! więc to wina neurastenji! Popadł z neurastenji w filologię, jakby powiedział mój dobry mistrz Pocquelin, zwany Molierem. Powiedz pan, profesorze Cottard, czy pan sądzi, że neurastenia może mieć ujemny wpływ na filologię, filologia kojący wpływ na neurastenię, a wyleczenie z neurastenji czy może prowadzić do reumatyzmu?

— Najzupełniej, reumatyzm i neurastenia to są dwie zastępcze formy neuroartrytyzmu. Można przejść z jednego w drugie w drodze metastazy.

— Nasz znakomity profesor — rzekł Brichot — wyraża się, niech mi Bóg odpuści, we francuszczyźnie równie zaprawnej łaciną i greką, jakby to mógł uczynić sam molierowski pamięci pan Czyściel! Przybywaj, wujaszku, chcę powiedzieć nasz Sarceyu narodowy...

Ale nie mógł dokończyć. Profesor podskoczył i wydał ryk:

— Do stu kaduków — wykrzyknął, przechodząc wreszcie do artykułowanej mowy — przepuściliśmy Maineville (he! he!) a nawet Renneville.

Spostrzegł w tej chwili, że pociąg zatrzymuje się w Saint-Mars-le-Vieux, gdzie prawie wszyscy pasażerowie wysiadali.

— Nie mógł przecież przejechać stacji. Musieliśmy nie zauważyć, rozmawiając o Cambrerach.

— Słuchaj mnie, Ski, zaczekaj pan, powiem panu „dobrą nowinę”; — rzekł Cottard, który upodobał sobie to wyrażenie, używane w niektórych kołach lekarskich. — Księżna musi być w pociągu, nie zauważyła nas i wsiadła do innego wagonu. Chodźmy jej szukać. Byle to wszystko nie sprowadziło jakiejś kalaputryny.

I profesor pociągnął nas na poszukiwanie księżnej Szerbatow. Znalazł ją w kącie pustego wagonu, czytającą „Revue des Deux Mondes”. Księżna przyjęła od wielu lat, z obawy afrontów, zwyczaj siedzenia na swoim miejscu, trzymania się w kącie — tak w życiu jak w pociągu — i czekania z podaniem ręki aż ją ktoś pierwszy przywita. Czytała ciągle, kiedy wierni weszli do wagonu. Poznałem ją natychmiast: ta kobieta, która straciła może dawną sytuację, ale która była bądź co bądź osobą wysokiego rodu, a w każdym razie perłą salonu Verdurinów, była damą, którą w tym samym pociągu wziąłem przedwczoraj za gospodynię domu publicznego. Jej tak niepewna osobowość stała mi się natychmiast zrozumiała, kiedy usłyszałem nazwisko, tak jak, namęczony się nad zagadką, dowiadujemy się wreszcie słowa, które czyni jasnym przedtem ciemne. Tem słowem jest nazwisko. Dowiedzieć się na trzeci dzień, kim była osoba, z którą się jechało w pociągu, nie mogąc ustalić jej światowej rangi, stanowi niespodziankę o wiele zabawniejszą, niż wyczytać w świeżym numerze tygodnika rozwiązanie zagadki z poprzedniego nume-

ru. Wielkie restauracje, kasyna, kolejki lokalne, są istnem muzeum tych towarzyskich zagadek.

— Księżno, nie spostrzeżliśmy księżnej w Maineville! Pozwoli księżna, abyśmy zajęły miejsce w tym przedziale?

— Ależ jakże! — rzekła księżna, która słysząc że Cottard mówi do niej, podniosła dopiero wzrok z nad Revue. Oczy jej, podobnie jak oczy pana de Charlus — mimo iż łagodniejsze od nich — widziały bardzo dobrze osoby, których obecności księżna zdawała się nie spostrzegać. Cottard, uznawszy fakt że jestem zaproszony razem z Cambremerami za wystarczającą rekomendację, zdecydował się po chwili przedstawić mnie księżnej; ukloniła się bardzo grzecznie, ale tak jakby pierwszy raz słyszała moje nazwisko. „Kroć djasków — krzyknął doktor — żona zapomniała zmienić mi guzików przy białej kamizelce. Och, te kobiety, nie myśli to nigdy o niczem. Nie żęń się nigdy, młody człowieku!” — rzekł do mnie. Że zaś był to jeden z dowcipów, które uważał za właściwe stosować, kiedy się nie miało nic do powiedzenia, doktor zerknął na księżnę i na innych wiernych, którzy, ponieważ był profesorem i Akademikiem, uśmiechnęli się podziwiając jego wesołość i naturalność. Księżna poinformowała nas, że młody skrzypek odnalazł się. Leżał w łóżku poprzedniego dnia z powodu migreny, ale przybędzie dziś wieczór i przyprowadzi starego przyjaciela rodziny, którego spotkał w Doncieres. Księżna dowiedziała się o tem od pani Verdurin, u której była rano na śniadaniu, jak nam to oznajmiła pospiesznym głosem, w którym spółgłoska *r* z rosyjska łagodnie szemrała w jej gardzieli, jakby to było nie *r* ale *l*.

— A, jadła dziś z nią pani śniadanie — rzekł Cottard do księżnej, ale patrząc na mnie, bo słowa jego miały zwrócić uwagę, jak księżna jest blisko z „pryncypalką”. — Pani jest naprawdę wierna!

— Tak, lubię to małe kółko inteligentne, miłe, nie złośliwe, prłoste, bez snobizmu i trłyskające dowcipem.

— Tam do licha, musiałem zgubić bilet, muszę go znaleźć — wykrzyknął Cottard, nie zbyt zresztą zaniepokojony. Wiedział, że w Douville, gdzie miały na nas czekać dwa landa, urzędnik przepuści go bez biletu i ukloni mu się tem niżej, aby wytłumaczyć tym ukłonem swoją pobłażliwość, świadczącą iż poznał w panu Cottard stałego gościa Verdurinów. — Nie wsadzą mnie do aresztu — zakonkludował Cottard.

— Mówił pan — spytałem Brichota — że niedaleko stąd były słynne wody: skąd to wiadomo?

— Nazwa sąsiedniej stacji dowodzi tego, obok wielu innych świadectw. Zowie się Fervaches.

— Nie rłozumiem, co on chce powiedzieć — zaszemrała księżna tonem takim, jakby mi mówiła przymilnie: „Nudzi nas, prawda?”

— Ależ księżno, Fervaches znaczy gorące wody, *Fervidae aquae*. — Ale, *à propos* młodego skrzypka — ciągnął Brichot — zapomniałem panu, profesorze, oznajmić wielką nowinę. Czy pan wie, że nasz biedny przyjaciel Dechambre, dawny ulubiony pianista pani Verdurin, umarł. To okropne.

— Jeszcze był młody — odparł Cottard — ale musiał mieć jakiś mankament w wątrobie, musiał mieć jakieś świństwo w tym interesie, fatalną fizys miał od jakiegoś czasu.

— Ależ on nie był taki młody — rzekł Brichot; — w czasie kiedy Elstir i Swann bywali u pani Verdurin, Dechambre był już paryską sławą i rzecz zadziwiająca, nie przywiózł swego sukcesu z zagranicy. Tak, ten Dechambre nie był wyznawcą Ewangelji wedle świętego Barnuma.

— Myli pan; nie mógł bywać w owym czasie u pani Verdurin, był jeszcze na mamkach.

— Ależ, o ile mnie moja stara pamięć nie zawodzi, zdaje mi się, że Dechambre grywał sonatę Vinteuila dla Swanna, wówczas, gdy ten klubowiec, wycofawszy się z arystokracji, nie przeczuwał iż będzie pewnego dnia zmieszczanionym księciem-małżonkiem naszej narodowej Odety.

— To niemożliwe, sonatę Vinteuila grano u pani Verdurin w długi czas po zniknięciu stamtąd Swanna — rzekł doktor (doktor był jak wielu ludzi, którzy pracując dużo i sądząc iż zachowują w pamięci wiele rzeczy rzekomo użytecznych, zapominają wielu innych, co

im pozwala zachwycać się pamięcią ludzi nie mających nic do roboty). — Ujmę czyni pan swojej wiedzy, a nie jest pan przecie zramolizowany — dodał z uśmiechem doktor.

Brichot uznał swój błąd. Pociąg zatrzymał się. Była to la Sogne. Ta nazwa intrygowała mnie. „Jak jabym lubił wiedzieć, co znaczą wszystkie te nazwy — rzekłem do Cottarda. — Niechże się pan spyta pana Brichota, on może wie. — Ależ la Sogne, to Cicogne, *Siconia*, — odparł Brichot, budząc we mnie szaloną ochotę pytania o inne nazwy.

Zapominając że lubi swój „kącik”, pani Szerbatow ofiarowała się uprzejmie zamienić ze mną miejsce, abym mógł lepiej rozmawiać z Brichotem, którego chciałem spytać o inne intrygujące mnie etymologie. Księżna zapewniła, że jej jest wszystko jedno, jechać przodem, tyłem, stojąc, etc... Trzymała się w pozycji obronnej, dopóki nie знаła intencji nowoprzybyłych; ale kiedy zrozumiała że są przyjazne, starała się na wszelki sposób zrobić każdemu przyjemność. Wkońcu pociąg zatrzymał się na stacji Doville-Féterne, która, położona mniej więcej w równej odległości od Féterne i od Doville, nosiła z powodu tej właściwości obie nazwy. „A, do licha — wykrzyknął doktor Cottard, kiedyśmy się znaleźli w przejściu gdzie odbierano bilety, udając że dopiero teraz się spostrzegł — nie mogę odnaleźć biletu, musiałem go gdzieś zgubić”. Ale funkcjonariusz, zdejmując kaszkiet, upewnił że to nic i uśmiechnął się z szacunkiem. Księżna (dając wyjaśnienia stangretowi, tak jakby to czyniła jakaś dama dworu pani Verdurin, bo sama pani Verdurin z powodu Cambremerów nie mogła przybyć na stację, co zresztą czyniła rzadko) zabrała mnie, zarówno jak Brichota, do jednego z powozów. W drugi wsiedli doktor, Saniette i Ski.

Stangret, mimo że bardzo młody, był „starszym stangretem” Verdurinów, jedynym prawdziwym ich stangretem z urzędu; wozził ich zawsze w ciągu dnia na spacer, bo znał wszystkie drogi, a wieczór przywoził i odwoził „wiernych”. Towarzyszyli mu donajęci stangreci (których dobierał w razie potrzeby). Był to dzielny chłopiec, trzeźwy i zręczny, ale jego smutna twarz i skupione spojrzenie świadczyły o skłonności do irytacji a nawet do melancholji. Ale w tej chwili był bardzo szczęśliwy, bo udało mu się ulokować u Verdurinów brata, również poczciwego chłopca.

Najpierw przebyliśmy Doville. Porosłe trawą pagórki schodziły do morza dużemi zwalami, którym nasycenie wilgocią i solą daje gęstość, miękkość i szczególną żywość koloru. Wysepki i wycięcia Rivebelle, o wiele bliższe tutaj niż w Balbec, dawały tej partii morza nowy dla mnie wygląd plastycznej mapy. Minęliśmy domki, zajęte prawie wszystkie przez malarzy, skrzyliśmy w dróżkę, gdzie pasące się wolno krowy, równie przestraszone jak nasze konie, zatarasowały nam na dziesięć minut przejazd, poczem skrzyliśmy w drogę wśród skał.

— Ale na bogów nieśmiertelnych — spytał nagle Brichot — wróćmy do biednego Dechambre; czy sądzicie, że pani Verdurin *wie?* czy *powiedziano* jej?

Pani Verdurin, jak prawie wszyscy ludzie światowi, właśnie dlatego że potrzebowała towarzystwa drugich, nie myślała już o nich ani dnia z chwilą gdy, wyzionąwszy ducha, nie mogli już przychodzić na środy ani na soboty ani na obiadek w małym kółku. I nie można było powiedzieć o „paczce”, będącej w tem obrazem wszystkich salonów, że składa ją więcej umarłych niż żywych, ile że, z chwilą śmierci, było tak jakby się nigdy nie istniało. Ale, aby uniknąć obowiązkowej nudy mówienia o nieboszczykach, a nawet może — rzecz niemożliwa dla pryncypalki — przerwania obiadów z powodu żałoby, p. Verdurin udawał, iż śmierć wiernych tak wzrusza jego żonę, że przez wzgląd na jej zdrowie nie trzeba o tem mówić. Zresztą, może właśnie dlatego że śmierć drugich zdawała mu się tak definitywnym i pospolitym wypadkiem, myśl o własnej śmierci przejmowała go grozą, unikał też wszelkich refleksyj w tej mierze. Brichot, dobry człowiek i ściśle wierzący w to co Verdurin mówił o żonie, bał się dla przyjaciółki tych bolesnych wzruszeń.

— Tak, *wie wszystko* od dziś rana — rzekła księżna — *nie można jej było ukryć*.

— Och, tysiąc gromów Zeusa — wykrzyknął Brichot — och, to musiał być straszliwy cios: przyjaciel od dwudziestu pięciu lat! Człowiek tak zrośnięty z naszą paczką!

— Oczywiście, oczywiście, cóż pan chce — rzekł Cottard. — To są okoliczności zawsze przykre; ale pani Verdurin to silna kobieta, to głowa w wyższym jeszcze stopniu niż serce.

— Nie zupełnie jestem zdania doktorla — rzekła księżna, która przy swojej pospiesznej dykcji i niedbalej wymowie, robiła wrażenie zarazem dąsu i filuterności. — Pani Ver-

durin pod pozorami chłodu kryje skarby uczucia. Jej mąż mówił mi, że wiele miał trudu z tem, aby jej nie dać jechać do Paryża na pogrzeb; musiał skłamać, że wszystko odbywa się na wsi.

— A do djaska, chciała jechać do Paryża! Ależ ja wiem, ta kobieta ma serce, może za wiele serca. Biedny Dechambre! Toż nie dalej niż dwa miesiące temu, pani Verdurin mówiła: „Przy nim Plante, Paderewski, nawet Risler idą w ką”. Och, ten mógł powiedzieć, słuszniej niż to kabotyniszczyste Neron, który potrafił zbujać nawet naukę niemiecką: *Qualis artifex pereo!* Ale przynajmniej Dechambre musiał umrzeć pełniąc swoje kapłaństwo, *in odore sanctitatis* beethoweniańskiej, i mężnie, nie wątpię o tem; po sprawiedliwości, ten apostoł niemieckiej muzyki wart był umrzeć celebrując mszę *D dur*. Ale to był pozatem człowiek zdolny powitać kostuchę trylem, bo ten genialny wirtuoz odnajdywał czasami w swojej rasie sparyżanizowanego szampańczyka jurność i elegancję francuskiego gwardzisty.

Z wysokości na któreśmy się znaleźli, morze nie wydawało się już, jak z Balbec, podobne do falistych gór, ale przeciwnie, wyglądało tak, jak ze szczytu góry lub z okrążającej ją drogi wygląda siny lodowiec lub olśniewająca równina, położone niżej. Deseń wirów zdawał się znieruchomiony tak jakby na zawsze wykreślił swoje koncentryczne koła; nawet emalja morza zmieniającego nieznacznie kolor przybierała w głębi zatoki, tam gdzie było ujście rzeki, sinawą białość mleka, w którym małe czarne łodzie, nie posuwając się naprzód, zdawały się grzęznąć jak muchy. Nie wyobrażałem sobie, aby mógł skądś być rozleglejszy widok. Ale za każdym zakrętem przybywała nowa partja, a kiedyśmy się znaleźli u rogatki Doville, ostroga skały, dotąd zasłaniająca pół zatoki, cofnęła się, i ujrzałem nagle po lewej, część zatoki równie głęboką jak ta którą miałem dotąd przed sobą, ale zmieniającą jej proporcje i zdławiającą piękno. Powietrze na tej wyżynie nabierało upajającej ostrości i czystości. Kochałem w tej chwili Verdurinów; to że wysłali po nas powóz, zdawało mi się aktem rozczulającej dobroci. Byłbym uściskał księżnę. Oświadczyłem jej, że nie widziałem nic równie pięknego. Wyznała, że również kocha ten krajobraz bardziej niż wszelki inny. Ale ja czułem, że dla niej, jak dla Verdurinów, główną sprawą było nie podziwiać ten widok oczami turysty, ale organizować smaczne obiady, gościć wybrane towarzystwo, pisać listy, czytać, słowem żyć tam, raczej biernie kąpiąc się w tem pięknie, niż czyniąc zeń przedmiot swoich zainteresowań.

Minąwszy rogatkę, powóz zatrzymał się chwilę na takiej wysokości ponad morzem, że, niby ze szczytu, widok sinuej otchłani przyprawiał niemal o zawrót głowy. Spuściłem szybę; wyraźny plusk każdej łamiącej się fali miał w swojej słodyczy i czystości coś wzniosłego. Czyż nie był jakgdyby wskaźnikiem skali, która, obalając nasze zwykłe wrażenia, ukazuje nam, że, nawspak przyzwyczajeniom naszej myśli, odległości prostopadłe mogą się kojarzyć z poziomymi; i że, zbliżając niejako do nas niebo, odległości te nie są wielkie; są nawet mniejsze dla dźwięku który je przebywa, jak plusk tych małych fal, bo środowisko które ma przebyć jest czystsze. I w istocie, wystarczało się cofnąć od rogatki, bodaj o dwa metry wstecz, aby już nie rozróżniać tego plusku fal, któremu dwieście metrów pionowego urwiska nie odjęło delikatnej, drobiazgowej i łagodnej wyrazistości. Powiedziałem sobie, że babka odczułaby tutaj ów podziw, jaki w niej budziły wszystkie przejawy natury lub sztuki, w prostocie swojej wyrażające wielkość. Egzaltacja moja sięgała szczytu i ogarniała wszystko co mnie otaczało. Rozczulało mnie, że Verdurinowie posłali po nas na stację. Powiedziałem to księżnej, która najwidoczniej uznała że mocno przeceniam zwykłą uprzejmość. Wiem (zwierzyła się potem Cottardowi), że mi się jej wydał bardzo egzaltowany; Cottard odrzekł, że jestem zbyt pobudliwy i że potrzebowalibyśmy środków uspokajających i robótek na drutach. Zwracałem uwagę księżnej na każde drzewo, na każdy domek tonący w różach, kazałem jej wszystko podziwiać, byłbym ją samą rad przycisnął do serca. Rzekła, że widzi we mnie zmysł malarski, że powinienbym rysować; dziwiła się, że mi jeszcze tego nie mówiono. I przyznała, że w istocie ta okolica jest malownicza.

Przebyliśmy wioskę Englesqueville, uczeponą skał. — *Engleberti Villa*, — objaśnił Brichot. — Ale czy księżna jest pewna, że dzisiejszy obiad odbędzie się mimo śmierci Dechambre'a? — dodał, nie zastanawiając się, że obecność powozów na stacji stanowiła już odpowiedź. — Tak, odparła księżna, panu Verldurlin specjalnie zależało na tem żeby nie odkładano obiadu; nie chce dać żonie „myśleć”. Przytem, po tylu latach, w ciągu



których nigdy nie przepuściła żadnej środy, ta zmiana przyzwyczajzeń mogłaby ją wzruszyć. Jest bardzo nerwowa w ostatnich czasach. Verdurin jest szczególnie rad że pan przyjeżdża dzisiaj, bo wie że to będzie wielka rozrywka dla niej — rzekła księżna, zapominając że niby to nie słyszała o mnie. — Sądzę, że dobrze by pan zrobił, nie *wspominając o niczem* przy pani Verdurin — dodała zwracając się do Brichota.

— Och, dobrze księżna robi, że mi to mówi — odparł naiwnie Brichot. — Uprzedzę Cottarda.

Powóz zatrzymał się na chwilę. Ruszył dalej, ale turkot kół ustał. Wjechaliśmy w aleję la Raspelière, gdzie pan Verdurin czekał nas przed gankiem. — Dobrzem zrobił, że włożył smoking — rzekł stwierdzając z przyjemnością że wierni są w smokingach skoro mam do czynienia z takimi elegantami. — A kiedy ja przeprosiłem, że jestem w marynarce, rzekł: — Ale cóż znowu, to znakomicie. Jesteśmy przecie między kolegami. Pożyczylbym panu chętnie jakiegos mojego smokinga, ale nie nadałby się panu. — Pełne wzruszenia *shake hand*, jakim, wchodząc do sieni, Brichot obdarzył pryncypała w charakterze kondolencji z powodu śmierci pianisty, nie wywołało żadnego komentarza. Wyraziłem panu Verdurin zachwyt nad tą miejscowością: — A, ślicznie, ale pan jeszcze nic nie widział, pokazemy to panu. Czemu by pan nie miał przyjechać tu na kilka tygodni, powietrze jest wyborne. — Brichot bał się, że jego uścisk dłoni nie został zrozumiany. — I co! ten biedny Dechambre! rzekł, ale półgłosem, z obawy aby pani Verdurin nie było gdzie w pobliżu. — To okropne, odparł rzeźko p. Verdurin. — Tak młodo... — podjął Brichot. Zniecierpliwiony próżną zwłoką, p. Verdurin odparł żywo, jakgdyby z jękiem, ale nie bólu lecz irytacji: — No więc tak, ale cóż pan chce, nic na to nie poradzimy, nasze słowa go nie wskrzeszą, prawda? — I już, wraz z jowialnością, wracała mu pogoda: — No, kochany Brichot, niech pan złoży prędko swoje rzeczy. Mamy *bouillabaisse*, która nie lubi czekać. Tylko na imię nieba, niechże pan nie wspomina o Dechambre przed żoną. Pan wie, ona głęboko kryje to co czuje, ale to fakt, że jest przytem niebezpiecznie wrażliwa. Doprawdy, przysięgam panu, kiedy się dowiedziała że Dechambre umarł, omal się nie rozplakała — rzekł Verdurin z głęboką ironją. Słyszac go, możnaby sądzić że trzeba być bez mała obłąkanym, aby żałować przyjaciela którego się widywało od trzydziestu lat; a z drugiej strony odczuwało się, że w tem wiekuistem współżyciu Verdurin jednak zawsze sądził żonę, a często go drażniła. — Jeżeli pan jej o tem wspomni, gotowa się znów rozchorować. Taby było fatalne, w trzy tygodnie po jej bronchicie. W takich razach, to ja jestem pielęgniarką. Może pan zgadnąć, że i mnie nie uszło na sucho. Bolej pan w sercu nad losem Dechambre'a, ile się panu podoba. Myśl o nim, ale nie mów. Kochałem bardzo Dechambre'a, ale nie może mi pan brać za złe, że jeszcze więcej kocham żonę. O, idzie Cottard, może się go pan spytać.

I w istocie Verdurin wiedział, że lekarz domowy umie oddawać drobne usługi, jak naprzykład przepisać że nie trzeba się martwić.

Posłuszny Cottard powiedział pryncypałce: — Niech się pani tak przejmuję, a jutro zawali *mi* pani 39 stopni gorączki, — tak jakby powiedział kucharcze: „Jutro zrobisz mi potrawkę cielęcą”. Medycyna, nie mogąc uleczyć, bawi się w zmienianie sensu czasowników i zaimków.

Verdurin z zadowoleniem ujrzał, że Saniette, mimo szykan doznanych dwa dni wprzódy, nie skrewił. W istocie bezczynność wszczęła pani Verdurin i jej mężowi okrutne instynkty, którym wielkie okazje — zbyt rzadkie — już nie wystarczały. Udało się nigdy poróżnić Odetę ze Swannem, Brichota z kochanką, powtórzyłyby się to z innymi, rozumie się samo przez się. Ale taka sposobność nie nastęczała się codzień. Saniette natomiast, dzięki swojemu przeczuleniu, dzięki swojej łatwo płochliwej nieśmiałości, był dla nich codzienną ofiarą. Toteż, z obawy aby im nie uciekł, zapraszano go zawsze uprzejmie i dobrodusznie, słowami takimi, jakie mają w liceum „weterani”, w pułku „stara wiara” dla rekruta, którego chce się zwabić w pułapkę jedynie poto aby się nad nim znęcać i robić mu dotkliwe kawały, wówczas gdy się już nie będzie mógł wymknąć.

— Zwłaszcza — przypomniał Cottard Brichotowi, który nie słyszał słów gospodarza — sza przed panią Verdurin. — Bądź bez obawy, o Cottardzie, masz do czynienia z mędrce, jak powiada Teokryt. Zresztą Verdurin ma rację; na co zdadzą się nasze skargi — dodał profesor, ponieważ, zdolny przyswoić sobie wyrażenia i pojęcia, ale pozbawiony subtelności, podziwiał w słowach pana Verdurin stoiczny hart. To fakt, że zeszedł ze

świata wielki talent. — Jakto, wy jeszcze o tym Dechambre! — rzekł Verdurin, który nas wyprzedził i widząc że nie idziemy za nim, wrócił się. Słuchaj pan — rzekł do Brichota — nie trzeba w niczem przesadzać. To że umarł, to nie jest powód aby zeń robić genjusza, którym nie był. Grał dobrze, zgoda, był zwłaszcza tutaj w dobrej ramie; przeszczepiony w inne otoczenie — nie istniał. Żona zapaliła się do niego i stworzyła mu reputację. Wiecie, jaka ona jest! Powiem więcej: w interesie własnej reputacji, on umarł w punkcie, *à point*, jak będą, mam nadzieję, *à point* racuszki caeńskie, usmażone wedle niezrównanych recept Pampilles'a (chyba, że zamysłacie, przy swoich jeremiadach, tkwić na wieki w tej sieni, otwartej na wszystkie wiatry). Nie chcecie przecie, żebyśmy wszyscy zdechli dlatego że umarł Dechambre, który od roku, mając dać koncert, musiał ćwiczyć gamy aby odzyskać chwilowo, bardzo chwilowo, giętkość palców. Zresztą usłyszycie dziś wieczór, lub przynajmniej zobaczycie — bo ten hultaj dość często zdradza po obiedzie sztukę dla partyjki pokera — kogoś, kto jest grubo większym artystą niż Dechambre: chłopczyna, którego żona odkryła (jak odkryła Dechambre'a i Paderewskiego, i innych): Morel. Jeszcze nie zjawił się, ladaco. Będę musiał po niego posłać powóz na ostatni pociąg. Przyjeżdża ze starym przyjacielem rodziny, którego odnalazł i który go nudzi jak djabli, ale inaczej musiałby — aby nie znosić później zrzędzeń ojca — tkwić w Doncieres i dotrzymywać mu towarzystwa. Nazywa się baron de Charlus.

Weszli wierni. Verdurin, zostawszy ze mną z tyłu podczas gdym zdejmował palto, wziął mnie żartobliwie pod ramię, jak robi, idąc do obiadu, gospodarz domu z gościem któremu zbrakło pary. „Miał pan dobrą podróż? — Tak, p. Brichot mówił rzeczy, które mnie bardzo interesowały — rzekłem myśląc o etymologjach, a także dlatego, że słyszałem iż Verdurinowie bardzo admirują Brichota. — Dziwiłbym się, gdyby on pana czego nie nauczył; to człowiek tak chowający się w cień i tak mało mówiący o rzeczach które wie”. Ta pochwała nie wydała mi się zbyt trafna. „Przemily jest, rzekłem. — Uroczy, rozkoszny, bez cienia pedantyzmu, pefen polotu, lekki, żona ubóstwa go, ja też! — odparł Verdurin przesadnym tonem tak jakby recytował lekcję. Wówczas dopiero zrozumiałem, że to co mówił o Brichocie było ironiczne. I pomyślałem w duchu, czy Verdurin, od owych dawnych czasów o których słyszałem, nie wyzwolił się z pod kurateli żony.

Rzeźbiarz bardzo się zdziwił, że Verdurinowie godzą się przyjąć pana de Charlus. W faubourg Saint-Germain, gdzie p. de Charlus był tak znany, nigdy nie mówiono o jego obyczajach: większość nic o nich nie wiedziała, inni wątpili o nich, raczej tłumacząc je wybrykami egzaltowanych ale platonicznych przyjaźni, nieostrożnością; świadomsii tailli starannie prawdę, wzruszając ramionami, kiedy jakaś niezyczliwa Gallardon zaryzykowała insynuację. Natomiast obyczaje te, znane ledwo paru najbliższym, były przeciwnie osławione zdala od sfery w której żył baron, jak owe strzały armatnie, słyszalne aż poza zasięgiem strefy ciszy. Zresztą w mieszczańskich i artystycznych kołach, gdzie baron uchodził za wcielenie zbroczenia, jego wspaniała sytuacja światowa, wysokie urodzenie, były zupełnie nieznanne; objaw podobny temu, który sprawia że w Rumunji nazwisko Ronsarda znane jest jako nazwisko magnata, natomiast jego poezja jest nieznaną. Co więcej, szlachectwo Ronsarda opiera się w Rumunji na pomyłce. Podobnie, jeżeli w świecie malarzy, aktorów, p. de Charlus miał tak złą reputację, wynikało to stąd, że go mylono z niejakim hrabią Leblois de Charlus, który nie był nawet żadnym jego krewnym (albo bardzo dalekim) i którego aresztowano — może przez pomyłkę — w głośniei obławie policyjnej. W rezultacie, wszystkie historie, które opowiadano o panu de Charlus, odnosiły się do owego fałszywego. Wielu zawodowców przysięgało, że mieli stosunki z panem de Charlus, i to w dobrej wierze, myśląc że fałszywy Charlus jest prawdziwy, fałszywy zaś podsyczał może, częścią przez snobizm, częścią przez hipokryzję zbroczenia, ten zamęt, który prawdziwemu znanemu nam baronowi de Charlus długo przynosił szkodę. Później, kiedy sam baron de Charlus stoczył się niżej, alibi to stało mu się wygodne, bo i on mógł mówić: „To nie ja”. Obecnie w istocie nie był on tym, o którym mówiono. Wreszcie — co jeszcze pogłębiało fałszywość komentarzy prawdziwego faktu (skłonności barona) — był on swego czasu bliskim a zgoła niewinnym przyjacielem pewnego pisarza, który w świecie teatralnym miał, niewiedomo czemu, tę niezasłużoną reputację. Kiedy ich widziano razem na premierze, powiadano: „Aha!” tak jak wierzono, że księżnę Oriannę łączą występne stosunki z księżną Parmy; legenda niezniszczalna, bo rozprószyłaby ją jedynie styczność z temi dwiema damami, którą ludzie powtarzający ową plotkę mogli

osiągnąć tylko lornetując je w teatrze i spotwarzając przed sąsiadem. Z obyczajów pana de Charlus rzeźbiarz tem kategorycznie wnioskował, że towarzyska sytuacja barona musi być równie licha, ile że o rodzinie pana de Charlus, o jego tytule i nazwisku, nie miał żadnych wiadomości. Jak Cottard myślał, że wszyscy wiedzą, iż tytuł doktora medycyny jest niczem a tytuł *interna* czemś, tak ludzie światowi wyobrażają sobie mylnie, że każdy jest w tym samym stopniu co oni sami i ludzie z ich sfery świadom socjalnych walorów ich nazwiska.

Książę d'Agriente uchodził za „niebieskiego ptaka” w oczach portjera z klubu, któremu był winien dwadzieścia pięć ludwików; odyskiwał swoją wartość dopiero w faubourg Saint-Germain, gdzie miał trzy siostry diuszessy. Wielki pan, jeżeli komu imponuje, to nie ludziom skromnym, nie doceniającym jego „państwa”, ale ludziom świetnym, zdolnym ściśle oszacować jego pozycję. Baron miał zresztą jeszcze tego wieczora zauważyć, że „pryncypał” (Verdurin) ma o najznakomitszych rodach książęcych pojęcia dość mętne. Przekonany że Verdurinowie „wsypią się”, pozwalając do swego tak *select* salonu wprowadzić indywiduum o podejrzanym reputacji, rzeźbiarz uważał za potrzebne wziąć pryncypałkę na bok. — Myli się pan najzupełniej, zresztą ja nigdy nie wierzę w podobne rzeczy; a ostatecznie, gdyby to i była prawda, powiem panu, że to nie byłoby zbyt kompromitujące dla mnie! — odparła pani Verdurin, wściekła, bo Morel był głównym elementem jej śród, zależało jej tedy na tem, aby go nie zrazić. Co się tyczy Cottarda, nie mógł wyrazić swego zdania, bo udał się w tej chwili, jak oznajmił, „załatwić małe zlecenie” w „*buen retiro*”, a potem napisać w gabinecie pana Verdurin bardzo pilny list do pacjenta.

Pewien wielki wydawca z Paryża, zjawiwszy się z wizytą i myśląc że go zatrzymają, odjechał pośpiesznie wściekły, zrozumiałwszy że nie jest dość wytworny dla tej „paczki”. Był to człowiek wysoki i tęgi, silny brunet, pracowity i dość apodyktyczny. Robił wrażenie hebanowego noża do przecinania kartek.

Pani Verdurin, która, aby nas przyjąć w olbrzymim salonie, gdzie trofea świeżo zerwanych traw, maków, kwiatów polnych, przeplatały się z tym samym motywem malowanym „*en camaïeu*” dwa wieki wprzód przez wykwintnego artystę, wstała na chwilę od partyjki ze starym przyjacielem, poprosiła nas o dwie minuty na jej dokończenie, przyczem nie przestała rozmawiać z nami. Nie zupełnie była zadowolona z wrażeń, które jej zwierzyłem. Po pierwsze, ujrzałem ze zgorzeniem że ona i jej mąż wracają co dnia do domu o wiele przed porą zachodów słońca, które miały być tak piękne z tego brzegu, a bardziej jeszcze z tarasu w la Raspelière, i dla których ja byłbym szedł całe mile. — Tak, to nieporównane, rzekła zdawkowo pani Verdurin, spoglądając na olbrzymie oszklone drzwi. Można patrzeć na to codzień i nie sprzykrzy się; — i znów spojrziała w karty.

Otóż, entuzjazm mój czynił mnie wymagającym. Ubolewałem, że z salonu nie widać skał Darnetal (których czar wysławiał mi Elstir), w momencie gdy łamią tyle kolorów. — A, stąd nie zobaczy ich pan, trzebaby iść na koniec parku, do *widoku na zatokę*. Z ławki, która tam stoi, ogarnia pan całą panoramę. Ale nie może pan iść sam, zablądziłby pan. Ja pana zaprowadzę, jeżeli pan chce — dodała miękko. — Ale nie, słuchaj, czy nie dosyć ci newralgji, jakiej napytałaś się kiedyś, chcesz dostać nowej? Pan wróci przecie, zobaczy widok na zatokę innym razem. — Nie nalegałem, zrozumiałem, że Verdurinom wystarczy wiedzieć że zachód słońca znajduje się w ich salonie lub jadalni, niby wspaniały obraz, niby szacowna emalja japońska, usprawiedliwiający wysoką cenę, jaką opłacali la Raspelière wraz z meblami; ale rzadko spoglądali na ten zachód; grunt było dla nich żyć przyjemnie, jeździć na spacerach, dobrze jeść, rozmawiać, przyjmować miłych ludzi, z którymi dzielili partyjki bilardu, smaczne obiadki, wesołe podwieczorki. Ujrzałem jednak później, jak inteligentnie nauczyli się znać okolicę, dostarczając gościom spacerów równie nieogranych, jak muzyka którą ich raczyli. Rola, jaką kwiaty w la Raspelière, drogi nad morzem, stare domy, nieznanne kościoły, grały w życiu pana Verdurin, była tak wielka, że ludzie którzy go widywali tylko w Paryżu i dla których miejski zbytek zastępował życie nad morzem i na wsi, zaledwie mogli zrozumieć jego zadowolenie z siebie, oraz ważność, jaką te przyjemności dawały mu we własnych oczach. Ważność ta urastała jeszcze przez fakt, że Verdurinowie byli przeświadczeni, iż la Raspelière, którą zamierzali kupić, jest, jako posiadłość, czemś jedynym. Wyższość, jaką ich miłość własna darzyła la Raspelière, usprawiedliwiła w ich oczach mój entuzjazm, który inaczej byłby ich podrażnił trochę,

z powodu zawodów, które krył w sobie (jak te, które niegdyś sprawiła mi Berma), a do których przyznawałem się im szczerze.

— Słyszę, że powóz wraca — szepnęła nagle pryncypalka. Powiedzmy w jednym słowie, że pani Verdurin, nawet poza nieuniknionymi zmianami wynikłymi z wieku, nie była już podobna do osoby w której salonie Swann i Odeta słuchali sławnej „frazy”. Nawet kiedy grano tę frazę, nie potrzebowała się już zmuszać do ekstatycznego wyrazu, jaki przybierała niegdyś, bo ten wyraz stał się jej twarzą. Pod wpływem niezliczonych newralgji, o jakie przyprawiała ją muzyka Bacha, Wagnera, Vinteuila, Debussy’ego, czoło pani Verdurin przybrało olbrzymie proporcje, jak członki, które reumatyzm zniekształca w końcu. Skronie jej, podobne do dwóch pięknych płonących, obolałych i mlecznych półkul, w których toczy się nieśmiertelnie Harmonja, odrzuciły na obie strony srebrne kosmyki i bez potrzeby słów głosiły za właścicielkę: „Wiem, co mnie czeka dziś wieczór”. Rysy jej nie silily się już wyrażać nadmiaru estetycznych wrażeń, bo same były niejako stałym ich wyrazem na zniszczonej i pysznej twarzy. Ten wyraz rezygnacji na wciąż bliskie cierpienia zadawane przez Piękno, oraz męstwo, jakim było ubrać się, kiedy się ledwo przeżyło ostatnią sonatę, sprawiały, że pani Verdurin, nawet słuchając najokrutniejszej muzyki, zachowywała twarz wzgardliwie obojętną i kryła się nawet z polknięciem dwóch łyżeczek aspiryny.

— Och, tak, są, są! — wykrzyknął pan Verdurin z ulgą, widząc że drzwi otwierają się dla Morela, za którym kroczył p. de Charlus. Baron, dla którego obiad u Verdurinów nie był zgoła wizytą światową, ale podejrzaną eskapadą, był onieśmielony jak uczeń, który znalazł się pierwszy raz w zamtuzie i traktuje gospodynię z bezmiernym szacunkiem. To też zwykła tendencja pana de Charlus do okazania męskości i chłodu ustąpiła (kiedy się baron zjawił w drzwiach) tradycyjnym pojęciem grzeczności, budzącym się z chwilą gdy nieśmiałość zburzy sztuczne wzięcie i sięgnie do warstw podświadomości. Kiedy u jakiegoś Charlusa — czy to będzie wielki pan czy plebejusz — przyjdzie do głosu takie uczucie instynktownej i atawistycznej grzeczności wobec nieznajomych, zawsze dusza jakiejś żeńskiej krewniaczki, nakształt opiekuńczej bogini lub wcielonego sobowtóra, śpieszy wprowadzić go do nowego salonu i dyktować mu zachowanie się, zanim dotrze do pani domu. Tak, młody malarz, wychowany przez świątobliwą ciotkę protestantkę, wejdzie z pochyloną na bok i trzęsącą się głową, z oczami wzniesionymi ku niebu, z rękami wsuniętymi w niewidzialną muflę, której urojony kształt oraz istotna i opiekuńcza obecność pomogą zalęknionemu artyście przebyć bez agorafobji najeżoną przepaściami przestrzeni z przedpokoju do saloniku. Pobożna krewniaczka, której wspomnienie wiedzie go dzisiaj, wchodziła tak przed wielu laty i z miną tak żałosną, że każdy zadawał sobie pytanie, co ona za nieszczęście zwiastuje, zanim przy pierwszych słowach zrozumiało się, że — jak teraz malarz — przychodzi poprostu z *diżestją*. Jestto jakgdyby prawo, które żąda, aby życie, dla celów niespełnionego jeszcze aktu, wezwano, spożytkowało, zniekształciło — w wiekuiestej prostytucji — najczcigodniejsze, czasem najświętsze, czasem tylko najniewinniejsze dziedzictwa przeszłości — mimo iż rodzi wówczas odmienne obrazy. I tak, pewien bratanek pani Cottard, który martwił rodzinę zniewieściałem wzięciem i dwuznacznymi stosunkami, wkraczał zawsze radośnie, jakby chciał zrobić niespodziankę lub oznajmić spadek, rozpromieniony szczęściem, o którego przyczynę daremnie byłoby pytać, ile że tkwiła w nieświadomej dziedziczności i zmyślonej płci. Szedł na paluszkach, sam z pewnością zdziwiony że nie ma w ręku portfeliu z biletami wizytowani, podawał rękę z buzią w ciup, jak to widział z pewnością u ciotki; a niespokojne jego spojrzenie kierowało się w stronę lustra, jakby chciał sprawdzić — mimo że był z gołą głową — czy mu się kapelusz (tak jak pewnego dnia pani Cottard spytała o to Swanna) nie przekrzywił.

Co się tyczy pana de Charlus, towarzystwo w jakim się obracał dostarczyło mu w tej krytycznej minucie odmiennych wzorów, innych arabesków dworności, a także zasady, że trzeba w pewnych wypadkach, na intencję skromnych mieszczan, umieć wydobyć i rozwinąć najrzadsze i zazwyczaj w zapasie chowane uroki. Toteż, krygując się, wdzięcząc, z tą samą płynnością, z jaką spódnice byłyby poszerzyły i skrępowwały jego kołysanie się, skierował się ku pani Verdurin z miną tak szczęśliwą i zaszczyconą, że możnaby rzec iż znaleźć się w jej domu jest dla barona najwyższą łaską.

Pochylona jego twarz, na której zadowolenie walczyło z poprawnością, marszczyła się w drobne fałdki uprzejmości. Możliwe, że to idzie pani de Marsantes, tak dale-

ce ujawniała się w tej chwili kobieta, którą błąd natury pomieścił w ciele pana de Charlus. Niewątpliwie, baron ciężko pracował nad tem aby pokryć tę pomyłkę i przybrać pozór męski. Ale zaledwie do tego doszedł — zachowawszy przez ten czas te same skłonności — nawyk czucia po kobiecemu dał mu nowy pozór kobiecy, zrodzony już nie z dziedziczności, ale z życia indywidualnego. Że zaś doszedł stopniowo do tego, że myślał — nawet w rzeczach towarzyskich — po kobiecemu, i to bez świadomości (bo nie w miarę jak kłamie innym, ale także w miarę jak kłamie samemu sobie, człowiek przestaje spostrzegać że kłamie), mimo iż nakazywał swemu ciału, aby rozwinęło (w chwili gdy wchodził do Verdurinów) całą kurtuazję wielkiego pana, owo ciało, tak dobrze pojmujące to co p. de Charlus przestał rozumieć, roztoczyło wszystkie uroki damy i to w tym stopniu, że baron zasłużyłby na epitet *lady-like*. Zresztą, czyż można całkowicie oddzielić wygląd pana de Charlus od faktu, że synowie, nie zawsze będąc podobni do ojca, nawet gdy nie są zбочeńcami i mają pociąg do kobiet, ziszczają w twarzy Profanację własnej matki. Ale poniechajmy tutaj to, co zasługiwałoby na osobny rozdział: sprofanowane matki.

Mimo że inne racje patronowały przeobrażeniu pana de Charlus i że czysto fizyczne fermenty kazały burzyć się w nim materji i przenosiły stopniowo jego ciało w kategorię ciał kobiecych, zmiana, jaką zaznaczamy tutaj, była jednak pochodzenia duchowego. Człowiek, który się uważa za chorego, staje się nim, chudnie, nie ma siły wstać, ma nerwowe niezłyty jelit. Siłą tkliwego myślenia o mężczyznach mężczyzna staje się kobietą, i urojona suknia pęta jego kroki. Obsesja myśli może w tych wypadkach przeobrazić pleć, jak w innych zdrowie.

Morel, który szedł tuż za baronem, przywitał się ze mną. Od tej chwili, wskutek podwójnej zmiany, jaka w nim zaszła, sprawił na mnie złe wrażenie, którego, niestety, nie umiałem dość wcześnie wziąć w rachubę. Oto czemu. Wspomniałem, że Morel, wyzwoliwszy się z ojcowskiego służalstwa, lubował się naogół w lekceważącej poufalości. W owym dniu, kiedy mi przyniósł fotografie, traktował mnie bardzo bezceremonjalnie. Jakież było moje zdumienie, kiedy, u pani Verdurin, ujrzałem, że mi się kłania bardzo nisko — tylko mnie jednemu — i kiedy usłyszał, zanim się z czemś odezwał, zwrócone do mnie wyrazy „szacunku, bardzo głębokiego szacunku”: nigdybym nie przypuszczał, aby mnie kiedy uczył takim zwrotem, piśmiennie lub ustnie. Odrazu wyczułem, że chce mnie o coś prosić. Za chwilę Morel wziął mnie na bok.

— Oddałby mi pan wielką przysługę — rzekł ceremonjalnie — gdyby pan raczył całkowicie przemilczeć przed panią Verdurin i jej gośćmi stanowisko, jakie mój ojciec zajmował u pańskiego szanownego wuja. Lepiej byłoby natrącić, że pełnił w pańskiej rodzinie funkcje intendenta, i to posiadłości tak rozległych, że go to stawiało na stopie równej z pańskimi krewnymi.

Prośba Morela była mi bardzo nie na rękę, nie przez to że mi kazała podwyższać sytuację jego ojca (co mi było obojętne), ale że musiałem zwiększać rzekomy majątek mojego ojca, co mi się wydawało śmieszne. Ale Morel robił wrażenie człowieka tak zgnębnego, tak nalegał, że nie umiałem odmówić. „Ale koniecznie przed obiadem — rzekł błagalnie; ma pan tysiąc pozorów, aby wziąć na bok panią Verdurin”. Zrobiłem to w istocie, starając się, o ile mogłem, podnieść blask ojca Morela, nie przesadzając „stopy życia” i „posiadłości” moich rodziców. Przeszło gładko, mimo zdziwienia pani Verdurin, która swego czasu znała trochę mego dziadka. Że zaś nie miała taktu i nienawidziła rodzin (rozkładowego elementu jej „paczki”), przeto, powiedziawszy mi że widziała niegdyś mojego pradziadka i wyraziwszy się o nim mniejwięcej jak o kompletnym idjocie, który nie byłby nic rozumiał z jej klanu i który, wedle jej wyrażenia, był „z innej parafji”, rzekła: „To zresztą taka nudna rzecz, rodzina. Człowiek tylko marzy, aby się z tego wydostać”. Zaraz potem opowiedziała mi o ojcu mego dziadka fakt, którego nie znałem, mimo że w domu (nie znałem pradziadka, ale mówiono wiele o nim) podejrzewałem jego rzadkie skąpstwo (w przeciwieństwie do ostantacyjnej nieco hojności wuja Adolfa, przyjaciela różowej damy i chlebobawcy ojca Morela). Pani Verdurin rzekła tedy:

— Skoro pańscy dziadkowie mieli tak szykownego intendenta, to dowód, że zdarzają się w rodzinach ludzie wszelkiej maści. Ojciec pańskiego dziadka był tak skąpy, że prawie zidjociawszy na schyłku życia — mówiąc między nami, nigdy nie miał zbyt tegiej głowy; pan gasi ich wszystkich — nie mógł się nigdy zdobyć na to, aby wydać trzy su na omnibus. Tak iż trzeba było posyłać za nim służącego, który płacił osobno konduktorowi i wmówił

w starego kutwę, że jego przyjaciel, p. de Persigny, minister Stanu, uzyskał dlań prawo darmowej jazdy omnibusem. Zresztą bardzo jestem rada, że ojciec *naszego* Morela był człowiekiem tak dystygowanym. Zdawało mi się, że on był profesorem liceum; to nic, widocznie źle zrozumiałam. Ale to niewiele znaczy, bo powiem panu, że my tu cenimy jedynie wartość ludzką, wkład osobisty, to co ja nazywam wtajemniczeniem. Byleby się żyło w sztuce, słowem byle się należało do bractwa, o resztę mniejsza.

Sposób, w jaki Morel należał do „bractwa” — o ile zdołałem się dowiedzieć — polegał na tem, że kochał na tyle kobiety i mężczyzn, aby móc zrobić przyjemność każdej płci przy pomocy tego czego się nauczył od drugiej — jak to się okaże później. Ale godne zanotowania jest, że z chwilą gdy mu przyrzekł interwenjować u pani Verdurin, z chwilą zwłaszcza kiedym to uczynił i to bez możliwości cofnięcia się, „szacunek” Morela dla mnie ulotnił się jakby czarami, pełne uszanowania formuły znikły, i nawet przez pewien czas skrzypek unikał mnie, podkreślając swoje lekceważenie. Tak że kiedy pani Verdurin chciała żebym mu coś powiedział, żebym go poprosił o zagranie jakiego utworu, on rozmawiał którymś z „wiernych”, potem z innym, zmieniał miejsce gdy chciał podejść do niego. Musiano mu zwracać uwagę że do niego mówię, wówczas odpowiadał niechętnie i krótko, chyba żeśmy byli sami. W takim razie był rozlewny, przyjacielski, bo miał urocze strony charakteru. Niemniej wywnioskowałem z tego pierwszego wieczoru, że on musi mieć brzydką naturę, że się nie cofnie w potrzebie przed żadną podłością, że wdzięczność jest dlań uczuciem obcym. W czem podobny był do ogółu ludzi. Że jednak ja miałem w sobie coś ze swojej babki i bawiłem się rozmaitością ludzi, nie spodziewając się od nich niczego ani nie mając do nich o nic żalu, zignorowałem nikczemność Morela, cieszyłem się przy okazji jego wesołością, a nawet tem co, jak sądzę, było objawem szczerzej przyjaźni z jego strony, kiedy, wyczerpawszy swoje fałszywe pojęcia o naturze ludzkiej, pojmował (chwilami, bo miał osobliwe nawroty pierwotnej i ślepej dzikości), że moja dlań pobłażliwość jest bezinteresowna, że moja wyrozumiałość nie płynie ze ślepoty, ale z tego co on nazywał dobrocią. Zwłaszcza zachwycała mnie jego sztuka, będąca bez mała tylko cudownym wirtuozostwem, ale dająca mi (mimo iż Morel nie był w intelektualnym sensie słowem prawdziwym artystą) słyszeć lub poznawać tyle pięknej muzyki. Zresztą jego *manager*, p. de Charlus (nie znałem tych jego talentów, mimo iż pani de Guermantes, pamiętająca go bardzo innym za młodu, powiadała, że napisał dla niej sonatę, wymalował wachlarz, etc...), skromny w tem co tyczyło jego istotnych przewag i rzetelnych darów, umiał poddać tę wirtuozję rygorom artystycznego smaku, bogacąc ją dziesięciokrotnie. Wyobraźcie sobie jakiegoś poprostu zręcznego tancerza z rosyjskiego baletu, wyrobionego, wykształconego, rozwiniętego w każdym sensie przez Diagilewa.

Wywiązałem się wobec pani Verdurin ze zlecenia, jakim mnie obarczył Morel i rozmawiałem z panem de Charlus o Robercie de Saint-Loup, kiedy wpadł do salonu Cottard, oznajmiając, tak jakby się paliło, że jadą Cambremerowie. Pani Verdurin, nie chcąc aby się wydawało wobec *nowych*, jak p. de Charlus (którego Cottard nie spostrzegł) i jak ja, że ona przywiązuje tyle wagi do wizyty Cambremerów, nie zareagowała na tę nowinę słowem ani gestem; rzekła jedynie do doktora, wachlując się z wdziękiem, tym samym sztucznym tonem, co jakaś margrabina w Komedji Francuskiej: „Baron powiadał nam właśnie...”.

To było za wiele dla Cottarda! Mniej żywo niżby to uczynił niegdyś, bo wiedza i wysokie godności zwolniły jego dykcję, ale bądź co bądź z tem wzruszeniem, jakie odnajdywał u Verdurinów, wykrzyknął: „Baron! Gdzie baron, co za baron? Mówiąc to, rozglądał się ze zdumionem niedowierzaniem. Pani Verdurin, z udaną obojętnością pani domu, której służący stłukł przy gościach cenny wazon, oraz ze sztuczną intonacją laureatki Konserwatorium, grającej Dumasa-syna, odpowiedziała wskazując wachlarzem protektora Morela: „Ależ baron de Charlus, któremu zaraz przedstawię pana: profesor Cottard”. Pani Verdurin była zresztą widocznie rada, że ma sposobność grać wielką damę. P. de Charlus podał dwa palce, które profesor uściśnął z życzliwym uśmiechem „książęcia wiedzy”. Ale wrósł w podłogę na widok wchodzących Cambremerów, podczas gdy p. de Charlus pociągnął mnie w kąt, aby mi coś powiedzieć nie bez pomacania — manierą niemiecką — moich muskułów.

P. de Cambremer nie był wcale podobny do starej margrabiny. Wdał się, jak matka powiadała z czułością, „całkowicie w papę”. Kogoś, kto jedynie słyszał o nim, lub nawet

o jego listach, żywych i zręcznych, fizys jego mogła przyprawić o zdziwienie. Z pewnością trzeba się było do niej przyzwyczaić. Ale jego nos, na to aby się umieścić na bakier nad ustami, wybrał — spośród tylu innych — jedyną może linię skośną, której nie przyszłoby nikomu na myśl wykreślić na twarzy; linię oznaczającą pospolitą głupotę, uwydatnioną jeszcze normandzką cerą rumianą jak jabłko. Może oczy pana de Cambremer zachowały nieco nieba Cotentin, tak słodkiego w piękne słoneczne dni, kiedy przechadzając się lubimy oglądać i liczyć przystające na skraju drogi setki cieniów topoli; ale ciężkie, kaprawe i nieforemne powieki przeszkodziłyby samej inteligencji przedostać się przez nie. Toteż widz, zbity z tropu nikłością błękitnego spojrzenia, przechodził do wielkiego nosa na bakier. Przez jakąś osobliwą transpozycję zmysłów, pan de Cambremer patrzył nosem. Ten nos pana de Cambremer nie był brzydki, raczej nieco za piękny, za duży, zbyt dumny ze swojej powagi. Garbaty, strojny, błyszczący, lśniący nowy, nos ten był nader skłonny wyrównać duchowe ubóstwo spojrzenia; na nieszczęście, o ile oczy są czasami organem, w którym odbija się inteligencja, nos (jakakolwiek byłaby zresztą tajemna solidarność i niepodejrzewane oddziaływanie rysów na siebie) nos jest naogół organem, w którym rozpościera się najsładniej głupota.

Mimo że dyskretny smak ciemnych ubrań, jakie nosił zawsze — nawet rano — p. de Cambremer, uspokajał tych, których olśniewał i drażnił arogancki blask płazowych kostjumów nieznanymi gości, nie podobna było zrozumieć, że żona prezydenta Sądu oświadczyła z miną i z powagą znawczyni, jak osoba bardziej od was obyta w wielkim świecie Alençon, że w panu de Cambremer czuje się natychmiast, zanim się jeszcze wie kim jest, człowieka wysoce dystyngowanego, doskonale wychowanego, odbijającego od stylu Balbec, słowem człowieka przy którym można oddychać. Był dla niej, zatrutej w Balbec tyloma turystami, którzy nie znali jej świata, niby flakon trzeźwiących soli. Ja uważałem przeciwnie że to by ktoś, kto by się babce wydał bardzo pospolity; że zaś nie rozumiała snobizmu, byłaby z pewnością zdumiona, że mu się udało zaślubić pannę Le-grandin, która musiała być wybredna na punkcie dystynkcji i której brat był „tak dobrze”. Conajwyżej możnaby powiedzieć o płaskiej brzydocie pana de Cambremer, że jest jakby „tutejsza” i ma w sobie coś bardzo staroświecko-lokalnego; patrząc na te sfuzerowane rysy, które chciałoby się poprawić, myślało się o nazwach normandzkich miasteczek, co do których etymologii nasz proboszcz się mylił, ponieważ chłopci, źle wymawiając lub fałszywie rozumiejąc normandzkie lub łacińskie słowo, utrwalili w jakimś barbarzyzmie — znajdującym się już w *cartulariach*, jakby powiedział Brichot — fałsz i błąd wymowy.

Życie w tych starych miasteczkach bywa zresztą bardzo przyjemne, a pan de Cambremer musiał mieć swoje zalety; bo, o ile było naturalną rzeczą u matki że stara margrabina wolała syna od synowej, godne uwagi było, że, mając kilkoro dzieci — z tych bodaj dwoje lub troje dość udanych — oświadczała często, iż margrabia był, jej zdaniem, ozdobą rodziny. W ciągu krótkiego czasu, który spędził w wojsku, koledzy, uważając że Cambremer jest za długie, dali mu przydomek *Cancan*, na który zresztą nie zasłużył niczem. Umiał uświetnić obiad, na który go zaproszono, powiadając w momencie ryby (choćby była nieświeża) lub pieczystego: „Bagatela, ależ to piękna sztuka!” I żona jego, która wchodząc w dom Cambremerów, przejęła wszystko, co jej się zdawało „stylem” owego świata, dostrajała się do tonu przyjaciół męża (a może starała się mu podobać, jak kochanka), tak jakby niegdyś brała udział w jego kawalerskim życiu, mówiąc o nim swobodnie do oficerów: „Zaraz zjawi się Cancan. Cancan pojechał do Balbec, ale wróci przed wieczorem”. Była wściekła, że się pospolituje tego wieczora u Verdurinów; uczyniła to jedynie na prośbę teściowej i męża, w interesie najmu. Ale, mniej dobrze wychowana od nich, nie tała swoich pobudek i naigrawała się z przyjaciółkami z tego obiadu:

— Wiecie, że my dziś mamy obiad u naszych lokatorów. To będzie warte podwyżki czynszu. W gruncie jestem dość ciekawa przekonać się, co oni mogli zrobić z naszej poczciwej starej Raspelière (całkiem tak jakby się tam urodziła i mieściła tam wszystkie wspomnienia rodzinne). Stary leśnik mówił mi jeszcze wczoraj, że nic już nie można poznać! Nie śmiem ani pomyśleć, co się tam musi dziać. Sądzę, że będzie nam trzeba zdezinfekować wszystko, zanim tam zamieszkamy z powrotem.

Przybyła wyniosła i sztywna, z miną wielkiej damy, której zamek okupowany jest w czasie wojny przez nieprzyjaciół, ale która i tak czuje się u siebie i chce pokazać zwycięzcom że są intruzami.

Pani de Cambremer nie mogła mnie ujrzyć zrazu, bo stałem we framudze z panem de Charlus, który powiadał mi, że się dowiedział od Morela, iż jego ojciec był intendentem w mojej rodzinie; on sam, p. de Charlus, spodziewa się po mojej inteligencji i wielkoduszności (termin wspólny jemu i Swannowi), że sobie potrafię odmówić niskiej i lichej przyjemności, jakiej pospolite głuptasy (to było dość znaczące!) nie omieszkałyby szukać na moim miejscu, zdradzając naszym gospodarzom szczegóły przynoszące Morelowi ujmę w ich oczach. „Sam ten fakt, że ja się nim interesuję i rozciągam na niego swoją protekcję, jest wystarczający i zaciera przeszłość” — zakończył baron. Słuchając barona i obiecując milczenie, które byłbym zachował nawet bez pokwitowania mojej „inteligencji i wielkoduszności”, przyglądałem się równocześnie pani de Cambremer. I z trudem mogłem rozpoznać owo coś soczystego i smakowitego, co miałem niedawno temu koło siebie w godzinie podwieczorku, na tarasie w Balbec, w oglądanym obecnie twardym jak kamień normandzkim placku, w którym „wierni” próżno sililiby się zatopić zęby.

Podrażniona z góry dobroduszością, którą jej mąż miał po matce i która kazała by mu z pewnością przybrać minę zaszczyconą, kiedyby mu przedstawiano gromadkę „wiernych”, pani de Cambremer pragnęła jednak dopełnić obowiązków światowej damy. Kiedy jej przedstawiono Brichota, chciała go zapoznać z mężem, bo widziała że tak postępują jej wytworniejsze przyjaciółki, ale wściekłość lub duma przeważały ostentację *savoir vivre*; powiedziała tedy, nie jak należało: „Pozwoli pan, że panu przedstawię męża”, ale: „Przedstawię pana memu mężowi”, dzierżąc w ten sposób wysoko sztandar Cambremerów, wbrew nim samym, bo margrabia skłonił się przed Brichotem tak nisko jak to przewidywała. Ale zły humor pani de Cambremer odmienił się nagle, kiedy ujrziała pana de Charlus, którego znała z widzenia. Nigdy nie udało się jej osiągnąć tego aby się jej baron pozwolił przedstawić, nawet w czasach jej stosunku ze Swannem. Bo p. de Charlus, biorąc zawsze stronę kobiet, stronę swojej bratowej przeciw kochankom pana de Guermantes, Odety (jeszcze nie zamężnej wówczas, ale dawnej kochanki Swanna) przeciw nowym kochankom Swanna, jako surowy obrońca cnoty i wierny protektor małżeństw, przyrzekł Odecie (i dotrzymał tego), że nigdy nie da się przedstawić pani de Cambremer. I z pewnością nie przypuszczała, że u pani Verdurin pozna wreszcie tego tak niedostępnego człowieka.

P. de Cambremer wiedział iż to jest dla niej tak wielka radość, że sam uczuł się wzruszony; popatrzał na żonę tak jakby mówił: „Kontenta jesteś, żeś się zgodziła przyjechać, co?” Mówił zresztą bardzo mało, wiedząc że zaślubił kobietę wyższą. „Ja, niegodny” — powiadał co chwila, i chętnie cytował jedną bajkę La Fontaine’a i jedną Floriana, które mu pozwalały kokietować swoją ignorancją, a z drugiej strony pozwalały mu, w formie wzgardliwego ustępstwa, pokazać uczeńcom nie należącym do Jockey-klubu, że można polować a czytywać bajki. Nieszczęściem, znał ich zaledwie dwie, toteż powtarzały się często.

Pani de Cambremer nie była głupia, ale miała różne drażniące nawyki. Zniekształcanie nazwisk nie miało u niej absolutnie nic z arystokratycznej wzdąrdy. Z pewnością nie ona, jak księżna Oriana de Guermantes (którą urodzenie powinno by bardziej niż panią de Cambremer uchronić od tej śmieszności), powiedziała by — iżby się nie wydawało że zna mało wytworne nazwisko (dziś będące nazwiskiem jednej z najekskluzywniejszych kobiet) Julien de Monchâteau: „pani... pani... Pic de la Mirandole”. Nie, kiedy pani de Cambremer fałszywie cytowała nazwisko, to jedynie przez życzliwość, aby się nie wydawało że coś wie; równocześnie zaś przez szczerłość podkreślała tem dobitniej to co niby ukrywała. Jeżeli naprzykład broniła jakiejś kobiety, starała się utaić — nie chcąc zarazem skłamać komuś, kto ją błagał, aby powiedziała całą prawdę — że pani taka a taka jest obecnie kochanką pana Sylvain Levy; wówczas mówiła: „Nie... absolutnie nic nie wiem o niej; zarzucano jej podobno, że rozkochała w sobie jakiegoś pana, którego nazwiska nie wiem, coś jak Cahn, Kohn, Kuhn, zresztą zdaje mi się że ten pan umarł od dawna i że nigdy nic między nimi nie było”. Ten proceder — mimo iż odwrotny — podobny jest do systemu kłamców, którzy myślą że, zniekształcając to co zrobili, kiedy to opowiadają kochance lub poprostu przyjacielowi, sprawią iż tamci nie zgadną natychmiast, że jakiś zdanie (tak samo jak owo Cahn, Kohn, Kuhn) jest sztucznie wstawione, że jest z innego gatunku niż te które składają rozmowę, że ma podwójne dno.



Pani Verdurin spytała męża na ucho: „Czy ja mam podać ramię baronowi de Charlus? Skoro ty będziesz miał po prawej panią de Cambremer, należałoby to może wyrównać. — Nie — rzekł Verdurin; skoro tamten ma wyższy stopień (chciał przez to powiedzieć, że p. de Cambremer jest margrabią), Charlus jest w sumie czemś mniej od niego. — Więc dobrze, posadzę go przy naszej księżnej”. I pani Verdurin przedstawiła panu de Charlus panią Szerbatow; baron i księżna skłonili się sobie w milczeniu, z miną świadczącą że wiedząc dużo nawzajem o sobie, przyrzekają sobie wzajemny sekret. P. Verdurin przedstawił mnie panu de Cambremer. Zanim jeszcze margrabia odezwał się swoim silnym i lekko zająkliwym głosem, wysoka jego postać i rumiana twarz zdradzały swoim drganiem marsowe wahania wodza, który stara się uspokoić cię i powiada: „Mówiono mi już, załatwimy to jakoś, postaram się żeby panu darowano karę; nie jesteśmy ludozercy, wszystko będzie dobrze”. Następnie, ściskając mi rękę, rzekł: „Zdaje się, że pan zna moją matkę. Słowo „zdaje się” uważał widać za bardziej odpowiadające ceremonjałowi prezentacji, ale bynajmniej nie wyrażało ono wątpliwości, gdyż margrabia dodał: „Mam właśnie od niej list do pana”.

P. de Cambremer wyrażał naiwną radość, że ogląda siedzibę, w której żył tak długo. „Odnajduję się tutaj” — rzekł do pani Verdurin, podczas gdy zachwycone jego spojrzenie poznawało kwiaty na supraportach i marmurowe biusty na wysokich cokołach. Mógł zresztą czuć się tu obco, bo pani Verdurin przywiozła z domu dużo starych pięknych rzeczy. Z tego punktu widzenia, pani Verdurin, uchodząc w oczach Cambremerów za burzycielkę, była nie rewolucjonistką ale inteligentną konserwatorką, w sensie którego oni nie rozumieli. Niesłusznie również obwiniali ją, że nienawidzi starej siedziby i że ją hańbi prostym płótnem zamiast ich bogatego pluszu, jak ciemny proboszcz zarzuca djeceznalnemu architektowi, że przywraca stare drewniane rzeźby porzucone w lamusie, w których miejsce ksiądz uważał za właściwe wstawić ornamenty kupione na placu Saint-Sulpice. Równocześnie skromne grządki zaczynały zastępować przed pałacem bogate klomby, stanowiące dumę nie tylko Cambremerów ale i ich ogrodnika. Ogrodnik, który uważał Cambremerów za swoich jedynych państwa i jęczał pod jarzmem Verdurinów, tak jakby posiadłość była chwilowo zajęta przez najeźdźcę i przez hordę żołdaków, nosił w sekrecie swoje lamenty wydziedziczonej właścicielce, oburzał się na wzdarcę w jaką popadły jego araukarje, begonje, kaktusy, jego wspaniałe dalje, i to że ośmielono się w tak zamożnej siedzibie sadzić kwiaty równie pospolite jak rumianek i nagietki. Pani Verdurin czuła ten głuchy sprzeciw, i była zdecydowana, w razie gdyby przedłużyła najem lub nawet kupiła la Raspelière, postawić za warunek dymisję ogrodnika, na którym starej właścicielce przeciwnie bardzo zależało. Służył jej za darmo w krytycznych czasach, uwielbiał ją; ale przez dziwną dwoistość sądów ludu, w których najgłębsza wzgarda sąsiaduje z najnamiętniejszym szacunkiem, splecionym znowuż ze staremi niezniszczalnymi urazami, powiadał często o pani de Cambremer, która w r. 1870, w swoim zamku położonym na kresach wschodnich, zaskoczona inwazją, musiała cały miesiąc znosić kontakt z Niemcami: „Bardzo to miano za złe pani margrabinie, że w czasie wojny trzymała stronę Prusaków i nawet ich gościła w zamku. W innym momencie, tobym rozumiał, ale w czasie wojny nie godziło się! To było nie pięknie”. Tak że był swojej pani wierny do śmierci, czcił ją za jej dobroć i rozgłaszał że się dopuściła zdrady.

Pani Verdurin była dotknięta, że p. de Cambremer tak dobrze (jak mówił) poznał la Raspelière. „Musi pan przecież spostrzegać pewne zmiany odparła. — Popierwsze, były tu te wielkie brzozy Barbedienne i te zakazane pluszowe krzeselka, które coprędzej wyprawiłam na strych, jeszcze zbyt honorowy dla nich!” Po tej ostrej ripoście, podała panu de Cambremer ramię, aby przejść do jadalni. Zawahał się chwilę, powiadając sobie: „Nie mogę przecież wejść przed panem de Charlus”. Ale pomyślawszy że baron musi być starym przyjacielem domu (skoro mu nie dano honorowego miejsca), zdecydował się przyjąć ramię gospodyni. Oświadczył pani Verdurin, jak dumny jest, że go dopuszczono do tej *biesiady* (w ten sposób nazywał małą „paczkę”, nie bez uśmiechu niejakiego zadowolenia, że zna ten termin).

Cottard, który siedział obok pana de Charlus, przyglądał mu się z pod binokli, aby wzręć znajomość i „przełamać lody”; przyczem mruganie jego było o wiele natarczywsze niż byłoby niegdyś i nie przerywane falami nieśmiałości. Zachęcające spojrzenia doktora, podkreślone uśmiechem, nie mieściły się już w szklach binokli, kipiały na wszystkie

strony. Baron, który łatwo dostrzegał wszędzie podobnych sobie, nie wątpił, że Cottard jest z ich liczby i że robi doń oko. Natychmiast osadził w miejscu profesora owym chłodem zbrojeńców, równie wzdurliwych dla tych którym sami się podobają, jak nadskakujących tym którzy im się podobają. Bezwątpienia, mimo iż każdy mówi kłamliwie o zawsze odmawianej przez los słodyczy budzenia miłości, ogólnem prawem, obowiązującym zgoła nie samych Charlusów, jest, że istota, której nie kochamy a która nas kocha, wydaje się nam nieznośna. Od takiej istoty, od takiej kobiety, o której nie powiemy że nas kocha, ale że się nas *czepia*, wolimy towarzystwo jakiejś innej, nie posiadającej ani jej uroku, ani jej zalet, ani jej inteligencji. Odzyska je dla nas dopiero wówczas, kiedy przestanie nas kochać. W tym sensie, irytacja zbrojeńca wobec człowieka, który mu się nie podoba a który mu nadskakuje, mogłaby się wydać jedynie komiczną transpozycją tej powszechnej reguły; ale występuje ona wówczas o wiele silniej. Toteż, podczas gdy ogół ludzi stara się ukrywać tę irytację (mimo iż jej doznaje), zbrojeniec daje ją bezlitośnie uczuć temu kto ją wywołał, tak jakby jej z pewnością nie dał uczuć kobiecie (naprzykład p. de Charlus księżnej Marji de Guermites, której uczucie nudziło go, ale mu pochlebiało). Ale kiedy widzą że inny człowiek objawia w stosunku do nich specjalną skłonność, wówczas, czy to przez niezrozumienie że to jest ten sam gust co ich własny; czy przez niemiłe przypomnienie, że ten sam gust, wyidealizowany przez nich gdy go odczuwają sami, uważany jest za zbrojeniec; czy przez chęć zrehabilitowania się brutalnym protestem w sytuacji w której to ich nic nie kosztuje; czy z obawy że ich ktoś może odgadnąć, obawy zbudzone nagle, kiedy żądza nie gna ich już z zawiązanymi oczami z szaleństwa w szaleństwo; czy z wściekłości, że dwuznaczne zachowanie się kogoś drugiego przynosi im szkodę, której własnem postępowaniem, w razie gdyby ów drugi podobał się im, nie wahałoby się mu wyrządzić, oni którzy nie robią sobie skrępułów aby gonić za młodym człowiekiem całe mile, nie spuszczać go z oczu w teatrze nawet kiedy jest z przyjaciółmi, ryzykując że go tem poróżnią z nimi — ci sami, skoro tylko ktoś kto się im nie podoba spojrzy na nich, powiadają wręcz: „Za kogo mnie pan bierze?” (jedynie dlatego że ich ktoś bierze za to czem są); „Nie rozumiem pana, proszę mnie zostawić w spokoju, pan się myli”; posuwają się w potrzebie do spoliczkowania natręta i wobec kogoś, kto zna nieostrożnego zalotnika, oburzają się: „Jakto, pan zna tego świntucha? Ten człowiek ma dziwny sposób przyglądania się!... Także maniery!”.

P. de Charlus nie posunął się tak daleko, ale przybrał wyraz obrażony i lodowaty, jaki mają kobiety, kiedy ktoś je weźmie niezasłużenie (a tembardziej jeżeli zasłużenie) za osoby lekkiego prowadzenia. Zresztą, zbrojeniec, znalazłszy się w towarzystwie innego zbrojeńca, widzi nietylko przykry obraz samego siebie, obraz martwy, zdolny jedynie udęczyć jego miłość własną, ale drugiego siebie, żywego, działającego w tym samym duchu, a więc zdolnego pokrzyżować jego amory. Toteż, wiedziony zmysłem samozachowawczym, będzie mówił źle o możebnym rywalu bądź z ludźmi, którzy mogą zaszkodzić tamtemu (przyczem zbrojeniec nr. 1 nie boi się uchodzić za kłamcę, obciążając w ten sposób zbrojeńca nr. 2 w oczach osób, które mogą być uświadomione co do niego samego), bądź z młodym człowiekiem, którego „wziął na oko”, którego tamten może mu zdmuchnąć i któremu trzeba wytłumaczyć, że to co jest bardzo godziwe czynione z nim samym, stałoby się katastrofą w razie gdyby to robił z innym.

Dla pana de Charlus, myślącego o niebezpieczeństwach (bardzo urojonych), jakimi obecność profesora Cottard, którego uśmiech fałszywie rozumiał, groziłaby Morelowi, zbrojeniec który mu się nie podobał był nietylko karykaturą jego samego, ale i notorycznym rywalem. Kupiec pracujący w jakiejś rzadkiej branży, przybywając do prowincjonalnego miasta gdzie chce się osiedlić, kiedy ujrzy, że na tym samym rynku, właśnie nawprost niego, konkurent uprawia ten sam rodzaj handlu, nie bardziej jest stropiony, niż jakiś Charlus, pragnący ukryć swoje miłości w spokojnej okolicy, kiedy w dniu swego przybycia spostrzeże ziemianina lub fryzjera, których wygląd i wzięcie nie zostawiają mu żadnej wątpliwości. Kupiec powźmie często do swego konkurenta nienawiść; nienawiść ta wyradza się nieraz w melancholję, i jeżeli spotka się bodaj trochę z obciążeniem dziedzicznym, zdarzało się w małych miasteczkach, że taki kupiec zdradza początki szaleństwa, które można wyleczyć jedynie skłaniając go aby sprzedał swój interes i wysiedlił się. Wściekłość zbrojeńca jest jeszcze bardziej piękąca. Zrozumiał, że od pierwszej sekundy ziemianin lub fryzjer pożądamy jego młodego towarzysza. Daremnie powtarza to

razy dziennie swemu przyjacielowi, że fryzjer i ziemianin to są bandyci, których zbliżenie szańbiłoby go; musi jak Harpagon dzień i noc czuwać nad swoim skarbem: wstaje w nocy; aby sprawdzić czy mu go ktoś nie odbiera. I to — z pewnością bardziej jeszcze niż żądza lub nawyki zażyłości i prawie tyleż samo co owo doświadczenie czerpane z samego siebie, jedyne prawdziwe — sprawia, że zboczeniec wykrywa drugiego zboczeńca z szybkością i pewnością prawie nieomylną. Może się omylić na chwilę, ale intuicja zwraca go szybko na dobrą drogę. Toteż omyłka pana de Charlus była krótka. Boskie rozeznanie ukazało mu po chwili, że Cottard nie jest z tej rasy i że niema się co obawiać jego awansów ani dla siebie (co by barona jedynie zirykowało) ani dla Morela, co by było poważniejsze. Odzyskał spokój, że zaś był jeszcze pod czarem przejścia *Venus androgyne*, uśmiechał się chwilami blade do Verdurinów, nie zadając sobie trudu powiedzenia słowa, ściągając na chwilę usta, i na sekundę rozświecał oczy, on tak rozkochany w męskości, zupełnie tak jakby to zrobiła jego bratowa, księżna Oriana.

— Pan dużo poluje? — spytała pani Verdurin wzgardliwie pana de Cambremer.

— Czy Ski opowiadał pani, że nam się zdarzył paradny kawał? — spytał Cottard pryncypalki.

— Poluję zwłaszcza w lesie Chantepie — odparł pan de Cambremer.

— Nie, nic nie opowiadałem — odparł Ski.

— Czy zasługuje na swoją nazwę — spytał Brichot pana de Cambremer, popatrzawszy na mnie z pod oka, bo przyrzekł mi mówić o etymologiach, prosząc równocześnie, abym nie zdradził Cambremerom jego ujemnego sądu o etymologiach proboszcza.

— Widać nie jestem zdolny tego ogarnąć, ale nie rozumiem pańskiego pytania — rzekł pan de Cambremer.

— Mam na myśli: czy śpiewa tam dużo srok? — odparł Brichot<sup>954</sup>.

Tymczasem Cottard cierpiał, że pani Verdurin nie wie, iż oni omal nie spóźnili się na pociąg. „No, no — rzekła pani Cottard do męża, aby go zachęcić: opowiedz swoją odyseję”.

— W istocie, to przekracza zwykle granice — rzekł doktor, który podjął na nowo opowiadanie. — Kiedym ujrzał, że pociąg stoi na stacji, zatknęło mnie! A wszystkiemu zawinił Ski. Pan masz mocno karkołomne informacje, drogi panie! A ten Brichot, który czekał nas na stacji!

— Sądziłem — odparł uczony, rzucając dokoła siebie resztki spojrzenia i uśmiechając się wąskimi wargami — że jeżeli się pan zapóźnił w Graincourt, to że pan spotkał jakąś perypatetyczkę.

— Będziesz pan cicho, gdyby moja żona pana usłyszała! — rzekł profesor. — *Moja szona ona być zastraszona.*

— A! ten Brichot — wykrzyknął Ski, w którym ryzykowny żarcik Brichota obudził tradycyjną wesołość — zawsze ten sam (mimo że doprawdy nie wiedział, czy Brichot był kiedy lampartem). I podkreślając te sakramentalne słowa rytualnym gestem, udał że się nie może oprzeć chęci uszczyplenia go w nogę. — Nic się nie zmienia ten hultaj! — ciągnął Ski, i nie zastanawiając się ile ślepoty profesora daje smutnego i komicznego tym słowom, dodał: „Zawsze to spiczaste oczko w stronę kobiet.”

— Widzi pan — rzekł pan de Cambremer — co to jest spotkać uczonego! Piętnaście lat poluję w lesie Chantepie i nigdy nie przyszło mi na myśl, co ta nazwa oznacza.

Pani de Cambremer rzuciła mężowi surowe spojrzenie; nie była rada, że się tak upokarza przed Brichotem. Bardziej jeszcze była niezadowolona, kiedy wobec każdego „gotowego” zwrotu jakiego użył Cancan, Cottard, który znał słabe i silne strony tych wyrażań, bo się ich pracowicie wyuczył, wykazywał margrabiemu, który kapitulował bezradnie, że one nic nie znaczą: „Czemu *głupi jak but*? Czy pan myśli, że buty są głupsze od innych przedmiotów? Powiada pan: »powtarzać sto razy jedno i to samo«. Czemu właśnie sto? Czemu »śmiać się jak koń«? »Djabeł w ukropie«? Czemu »ni w pięć ni w dziewięć«?” Wówczas Brichot brał pana de Cambremer w obronę, tłumacząc pochodzenie każdego zwrotu.

Ale pani de Cambremer była zwłaszcza zajęta badaniem zmian, wprowadzonych przez Verdurinów w la Raspelière, aby móc krytykować jedne, wprowadzić do Féterne inne, lub

<sup>954</sup>*w lesie Chantepie (...) czy śpiewa tam dużo srok? (fr.) — chanter: śpiewać, pie: sroka. [przypis redakcyjny]*

może te same. „Zastanawiam się, co to jest ten świecznik umocowany na bakier. Ledwo poznając moją starą Raspelière” — dodała tonem poufale arystokratycznym, tak jakby mówiła o słudze, chcąc nietylko określić jego wiek, ile wyrazić że patrzyła na jej urodzenie. Że zaś była zawsze trochę książkowa w swoim słownictwie, dodała półgłosem: „Bądź co bądź, wydaje mi się, że gdybym mieszkała w cudzym domu, nie ośmieliłabym się wyważać tak z posad wszystkiego”.

— To wielka szkoda, że pan nie przyjechał z tymi panami — rzekła pani Verdurin do pana de Charlus i do Morela, w nadziei że p. de Charlus przystanie do „wiernych” i nagnie się do reguły przyjeżdżania wspólnym pociągiem.

— Czy pan jest pewny, Brichotku, że Chantepie oznacza śpiewającą srokę? — dodała, aby okazać że, jako wielka kapłanka salonu, bierze udział we wszystkich rozmowach naraz.

— Niech mi pan coś powie o tym skrzypku — rzekła do mnie pani de Cambremer; interesuje mnie; uwielbiam muzykę, i zdaje mi się że słyszałam coś o nim, niech mnie pan oświeci.

Dowiedziała się, że Morel przybył z panem de Charlus; toteż, ściągając do siebie skrzypka, miała nadzieję zbliżyć się z baronem. Jednakże, iżby nie mógł odgadnąć tej racji, dodała: „Brichot tak że mnie interesuje”. Bo, o ile była bardzo wykształcona, o tyle, jak pewne osoby skłonne do otyłości, które mało co jedzą i używają ruchu cały dzień, nie przestając mimo to tyć w oczach, tak pani de Cambremer daremnie zgłębiała — zwłaszcza w Féterne — filozofję coraz to bardziej ezoteryczną, muzykę coraz to uczeńszą, porzucała te studia jedynie poto, aby motać intrygi, któreby jej pozwalały „splawiać” mieszczańskie przyjaźnie młodości a zawiązywać stosunki, o których zrazu myślała, że stanowią towarzystwo rodziny jej męża, zanim się przekonała później, iż znajdują się o wiele wyżej i dalej. Filozof, który nie był dla niej dość nowoczesny, Leibniz, powiedział, że długa jest droga wiodąca od rozumu do serca. Tej drogi pani de Cambremer, tak samo jak jej brat, nie zdolna była przebyć. Porzucając lekturę Stuarta Milla dla lektury Lacheliera, im mniej wierzyła w realność świata zewnętrznego, tem pracowiej siliła się wyrobić w nim sobie przed śmiercią pocześniejsze miejsce. Osobie tej, zakochanej w sztuce realistycznej, żaden przedmiot nie wydawał się zbyt skromny na to aby służyć za model malarzowi lub pisarzowi. „Światowy” obraz lub powieść przyprawiłyby ją o mdłości; muzyk Tolstoja, wieśniak Milleta, to była ostateczna granica społeczna, której nie pozwalała artyście przekroczyć. Ale przebyć tę, która ograniczała własne jej stosunki, wznieść się aż do świata mitry, było celem jej wszystkich wysiłków, tak bardzo djeta duchowa, jakiej się poddawała wgłębiając się w arcydzieła, była bezsilna wobec rosnącego wrodzonego i chorobliwego snobizmu. Snobizm ten uleczył w końcu nawet niejaki skłonności do skąpstwa i cudzołóstwa, jakim podlegała za młodu, podobny w tem do osobliwych i trwałych stanów patologicznych, które dotkniętą niemi osobę zdają się immunizować przeciw innym chorobom. Słuchając pani de Cambremer, musiałem oddać sprawiedliwość wyrafinowanej subtelności jej wyrażań, nie znajdując w nich zresztą żadnej przyjemności. Były to zwroty, których używają w danej epoce wszystkie osoby jednego zasięgu intelektualnego, tak że subtelne wyrażenie pozwala natychmiast, niby odcinek obwodu koła, opisać i określić cały obwód. Toteż te wyrażenia sprawiają, iż osoby, które ich używają, nudzą mnie natychmiast jak ktoś już znany, ale zarazem uchodzą za osoby niepospolite, i często mi je ofiarowywano przy stole jako rozkoszne a niedocenione sąsiadki.

— Wiadomo pani, że wiele leśnych okolic bierze nazwę od zwierząt, które je zaludniają. Obok lasu *Chantepie*, ma pani lasek *Chantereine*.

— Nie wiem o jaką królowę (*reine*) chodzi, ale nie jest pan dla niej zbyt dworny — rzekł pan de Cambremer.

— Masz za swoje, Brichotku, — rzekła pani Verdurin. — A poza tem droga dobrze się odbyła?

— Spotkaliśmy tylko mętne egzemplarze ludzkie, które wypełniały pociąg. Ale odpowiadam na pytanie pana de Cambremer: *reine* nie oznacza tutaj małżonki króla, lecz żabę. Jest to nazwa, która zachowała się długo w tych stronach, jak o tem świadczy stacja Renneville, która powinna się pisać Reineville.

— Cóż za wspaniała sztuka! — rzekł p. de Cambremer, pokazując rybę. Był to jeden z tych komplementów, zapomocą których margrabia sądził iż płaci swoją „cechę” za obiad

i kwituje się. „Zapraszać ich, to zbytuczne — mówił często o niektórych znajomych do żony. Byli uszczęśliwieni, że nas mieli u siebie. To oni mi dziękowali”.

— Zresztą muszę panu powiedzieć, że ja od wielu lat jeżdżę prawie codziennie do Renneville i nie widziałem tam więcej żab niż gdzieindziej. Pani de Cambremer sprowadziła tutaj proboszcza z parafii gdzie ma rozległe dobra, posiadającego, o ile mi się zdaje, te same upodobania co pan. Napisał dzieło.

— Wiem, oczywiście, przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem — rzekł obłudnie Brichot. Zadowolenie, jakie duma pana de Cambremer znalazła pośrednio w tej odpowiedzi, wywołało jego długi śmiech.

— Haha, otóż autor, jak mam powiedzieć, tej geografii, tego słowniczka, rozprawia długo o nazwie miejscowości, która była niegdyś — nie wiem jak się mam wyrazić — naszym lennem, a która się zwie Pont-à-Coulevre. Hm, jestem oczywiście pospolitym ignorantem wobec tej studni wiedzy, ale byłem tysiąc razy w Pont-a-Coulevre (gdzie on był tylko raz), i niech mnie licho porwie, jeżeli widział bodaj jedną z tych brzydkich żmij; powiadam brzydkich, mimo pochwały, jaką im oddaje dobry La Fontaine (*Człowiek i żmija*, to była jedna z dwóch bajek).

— Nie widział pan, i to pan miał lepszy wzrok — odparł Brichot. — Niewątpliwie, uczony, o którym pan mówi, zna do gruntu swój przedmiot, napisał książkę niepospolitą.

— Myśle! — wykrzyknęła pani de Cambremer — ta książka — wyrażenie będzie tu na swoim miejscu — to istna praca benedyktyna.

— Niewątpliwie musiał zaglądać do starych pergaminów (mam na myśli listy beneficjów i probostw w każdej diecezji), co mogło mu dostarczyć nazwisk świeckich patronów oraz duchownych kolatorów. Ale są i inne źródła. Jeden z moich najuczuczeńszych przyjaciół czerpał w nich. Odkrył, że to samo miejsce nazywano *Pont-à-Quileuvre*. Ta dziwaczna nazwa kazała mu sięgnąć jeszcze dalej do łacińskiego tekstu, gdzie most, który pani przyjaciel uważa za utrapiony żmijami, nazwany jest: *Pons cuit aperi*. Most zamknięty, który otwierał się tylko za przyzwolitą opłatą.

— Mówi pan o żabach. Ja, znajdując się pośród osób tak uczonych, mam uczucie *żaby przed areopagiem* (to była druga bajka La Fontaine'a) rzekł Cancan, który często, śmiejąc się przytem obficie, popełniał ten drugi żarcik, dzięki czemu — jak mniemał — przyznawał się do ignorancji i popisywał się wiedzą, łącząc pokorę z dowcipem.

Co się tyczy Cottarda, ten, zakneblowany milczeniem pana de Charlus i próbując zrobić sobie luz z innej strony, zwrócił się do mnie i zadał mi jedno z owych pytań, które uderzały jego chorych o ile doktor trafił dobrze i okazał w ten sposób że wchodzi niejako w ich ciało; o ile zaś trafił źle, pozwalało mu to skorygować pewne teorie, rozszerzyć dawne punkty widzenia.

— Kiedy pan się znajdzie w takim miejscu stosunkowo wysoko położonym, jak to gdzie bawimy w tej chwili, czy pan uważa, że to zwiększa pańską skłonność do duszności? — spytał, pewny że albo obudzi podziw, albo uzupełni swoją wędzę.

Pan de Cambremer usłyszał pytanie i uśmiechnął się:

— Nie umiem panu powiedzieć, jak mnie to bawi, że pan ma duszności — rzucił mi przez stół. Nie chciał przez to powiedzieć że go to rozwesela, mimo że w istocie tak było. Bo ten przezacny człowiek nie mógł usłyszeć o cudzem nieszczęściu, aby nie odczuć zadowolenia i spazmu wesołości, które rychło ustępowały miejsca współczuciu płynącemu z dobrego serca. Ale zdanie to miało inny sens, sprecyzowany w następnym: „To mnie bawi — rzekł — bo właśnie siostra moja ma także astmę”. W sumie, bawiło go to tak, jakgdybym zacytował jako jednego ze swoich przyjaciół kogoś kto często u nich bywał. „Jaki świat jest mały” oto refleksja, którą p. de Cambremer sformułował w myśli i którą wyczytałem na jego uśmiechniętej twarzy, gdy Cottard wspominał o mojej astmie. I ta astma stała się od tego obiadu niby wspólny znajomy, o którego pan de Cambremer nigdy nie omieszkał mnie pytać, choćby poto aby zanieść te nowiny siostrze.

Odpowiadając na pytania pani de Cambremer tyczące Morela, myślałem o swojej rozmowie z matką w ciągu popołudnia. Nie odradzając mi wizyty u państwa Verdurin (o ile mnie to mogło rozerwać), matka przypominała mi, że to jest środowisko, któreby się nie podobało memu dziadkowi i kazałoby mu krzyżeć: „Bacność! — poczem dodała:

— Słuchaj, prezydent Toureuil i jego żona powiedzieli mi, że spotkali gdzieś na śniadaniu panią Bontemps. Nie pytali mnie o nic. Ale mogłam zgadnąć, że małżeństwo twoje

z Albertyna byłoby marzeniem jej ciotki. Sądzę, iż prawdziwym powodem jest to, że ty jesteś im wszystkim bardzo sympatyczny. Bądź co bądź, zbytek jakim wedle ich mniemania mógłbyś ją otoczyć, stosunki nasze które mniej lub więcej znają, również, sądzą, grają w tem rolę, mimo iż drugorzędną. Nie wspominałabym ci o tem, bo mnie na tem nie zależy; ale ponieważ wyobrażam sobie, że będą z tobą o tem mówili, wolałam cię uprzedzić.

— A tobie, mamo, jak ona się wydaje? — spytałem.

— Cóż ja, przecie nie ja mam się z nią żenić. To pewna, że mógłbyś zrobić tysiąc razy lepszą partję. Ale sądzą, że babcia nie byłaby lubiła żeby wpływać na ciebie. W tej chwili nie mogę ci powiedzieć jak mi się wydaje Albertyna; wcale mi się nie wydaje. Powiem ci jak pani de Sévigné: „Ma swoje przymioty, przynajmniej tak sądzą. Ale na razie mogę ją chwalić jedynie negatywnie. Nie jest taka a taka, nie ma akcentu z Rennes. Z czasem powiem może: jest taka a taka. I zawsze będzie mi dobra, jeżeli tobie da szczęście”.

Ale same słowa matki, składające w moje ręce decyzję o mojem szczęściu, pogrzyżyły mnie w tym stanie wahania, w jakim znalazłem się niegdyś, kiedy mi ojciec pozwolił iść na *Fedre*, a zwłaszcza zostać literatem, i kiedy uczułem nagle zbyt wielką odpowiedzialność, lęk przed sprawieniem mu przykrości, oraz tę melancholję, jaka nas ogarnia, kiedy — przestając słuchać rozkazów, które z dnia na dzień kryły nam przyszłość — zdajemy sobie sprawę, żeśmy wreszcie rozpoczęli na dobre, jak dorosła osoba, życie — jedyne życie jakie każdy z nas ma do rozporządzenia.

Może najlepiej byłoby poczekać trochę, zacząć widywać Albertynę jak niegdyś, aby sprawdzić czy ją naprawdę kocham. Mógłbym ją ściągnąć do Verdurinów, dla rozerwania jej. To mi przypomniało, że ja sam wybrałem się tam tego wieczora jedynie dla stwierdzenia czy pani Putbus mieszka u nich lub czy ma przybyć. W każdym razie nie było jej na obiedzie.

— A propos pańskiego przyjaciela Saint-Loup — rzekła pani de Cambremer, posługując się zwrotem, który dowodził więcej konsekwencji w jej myśli, niżby słowa pozwalały przypuszczać; bo mówiąc o muzyce, myślała o Guermantach; wie pan, wszyscy mówią o jego małżeństwie z siostrzenicą księżnej Marji. Powiem panu, że co do mnie, nie interesuję się *w żadnej mierze* temi plotkami.

Przełąknęłam się, że się wyrażałam wobec Roberta dość bezceremonjalnie o tej młodej dziewczynie fałszywie oryginalnej, równie ograniczonej jak niepohamowanej. Nie ma prawie nowiny, któraby nam nie kazała żałować jakichś słów. Odpowiedziałam pani de Cambremer (co zresztą było prawdą), że nic o tem nie wiem i że zresztą oblubienica ta wydaje mi się jeszcze bardzo młoda.

— Może dlatego to nie jest jeszcze oficjalne; w każdym razie mówią o tem dużo.

— Wolę panią uprzedzić — rzekła sucho pani Verdurin usłyszawszy że pani de Cambremer mówi ze mną o Morelu (kiedy ściszyła głos, aby mówić o zaręczynach Roberta, pani Verdurin sądziła, że ona jeszcze mówi o Morelu). Tutaj nie uprawia się żadnej muzyki. W sztuce, wie pani, moi środowi wierni — moje dzieci, jak ich nazywam — są przerażająco postępowi — dodała pani Verdurin, z miną dumnego przerażenia. — Powiadają im czasami: moi drodzy ludkowie, idziecie ostrzej niż wasza pryncypałka, która przecież nie uchodzi za tchórza. Co rok, to dalej; przewiduję niedługo dzień, że już nie zechcą słyszeć o Wagnerze i o d'Indym.

— Ależ to bardzo pięknie być postępowym, nie można nim być nigdy nadto — rzekła pani de Cambremer, robiąc oczami przegląd jadalni, starając się rozpoznać rzeczy które zostawiła jej teściowa, te które przywiozła pani Verdurin, i doraźnie złapać panią Verdurin na złym smaku. Wśród tego starała się sprowadzić mnie na temat, który ją interesował najbardziej, na pana de Charlus. Wydało się jej wzruszające, że on proteguje skrzyпка.

— Wygląda inteligentnie — rzekła.

— Jest nawet pełen werwy, jak na człowieka już starszego.

— Starszego? Ależ on nie wygląda na starszego; niech pan patrzy, jaki włos pozostał młody.

(Od paru lat, bezimienni wynalazcy, którzy lansują mody literackie, zaczęli używać słowa „włos” w liczbie pojedynczej, i wszystkie osoby na długość promienia pani de Cambremer mówiły „włos” — nie bez afektowanego uśmiechu. Obecnie mówi się jeszcze „włos”, ale z nadużycia liczby pojedynczej odrodzi się liczba mnoga).

— Co mnie zwłaszcza interesuje w panu de Charlus — dodała — to że czuje się u niego wrodzony dar. Powiem panu, że ja mało cenię wiedzę. To, czego się można nauczyć, nie interesuje mnie. (Słowa te nie są w sprzeczności ze swoistymi walorami pani de Cambremer, które były wybitnie naśladowane i nabyte. Ale właśnie jedną z rzeczy, które należało wiedzieć w owym czasie, było to, że wiedza jest niczem i że nie waży ani źdźbła wobec oryginalności. Pani de Cambremer nauczyła się — jak wszystkiego innego — tego, że nie trzeba się niczego uczyć.) — Dlatego — rzekła — Brichot, który ma swoje ciekawe strony (bo ja nie gardzę pewną soczystą erudycją), interesuje mnie o wiele mniej.

Ale w tej chwili Brichot pochłonięty był tylko jednym: słysząc, że się mówi o muzyce, drżał, aby ten temat nie przypomniął pani Verdurin śmierci Dechambre'a. Chciał coś powiedzieć, aby oddalić to żalosne wspomnienie. P. de Cambremer dostarczył mu sposobności pytaniem:

— Zatem miejsca lesiste zawsze noszą nazwy zwierząt?

— Ależ bynajmniej — odparł Brichot, szczęśliwy że może rozwinąć swoją wiedzę wobec tylu nowych, wśród których udało mu się zainteresować bodaj jednego. — Wystarczy zauważyć, jak dalece nawet w nazwiskach osób zachowuje się drzewo, niby paproć w węglu. Jeden z naszych *patres conscripti* nazywa się de Saulces de Freycinet, co znaczy, jeśli się nie mylę, miejsce obsadzone wierzbami i jesionami, *salix et fraxinetum*; jego siostrzeniec, pan de Selves, gromadzi jeszcze więcej drzew, skoro się zowie de Selves, *sylva*, las.

Saniette śledził z radością ożywienie rozmowy. Ponieważ Brichot mówił cały czas, Saniette mógł zachować milczenie, chroniące go od żarcików obojga Verdurin. I tem wrażliwszy w swoim radosnem poczuciu swobody, wzruszył się, słysząc jak Verdurin — mimo pompy takiego obiadu — poleca kamerdynerowi, aby postawił karafkę wody przed nim, Saniettem, który pijał tylko wodę. (Generałowie, którzy tracą najwięcej żołnierzy, dbają o to, aby ich dobrze żywić). Wreszcie, pani Verdurin uśmiechnęła się raz do Saniette'a. Stanowczo, to są dobrzy ludzie. Nie będą go już dręczyć. W tej chwili przerwał obiad jeden z gości, którego zapomniałem wspomnieć, znakomity filozof norweski, który mówił po francusku dobrze ale bardzo wolno, z podwójnej przyczyny, raz dlatego, że nauczywszy się tego języka od niedawna i nie chcąc popełniać błędów (robił ich jednak trochę), sprawdzał każde słowo jakby w wewnętrznym słowniku; powtóre dlatego że jako metafizyk, mówiąc, obmyślał zawsze to co chciał powiedzieć, co nawet u Francuza zwalnia wysłowienie. Był to zresztą, uroczy człowiek, mimo iż z pozoru podobny do wielu innych, poza jednym punktem. Ten człowiek mówiący tak wolno (czynił pauzę po każdym słowie), rozwijał zawrotną szybkość w tem aby zniknąć, skoro się raz pożegnał. Za pierwszym razem pośpiech jego budził podejrzenie że go żołądek boli, albo że go przyparła jeszcze naglejsza potrzeba.

— Mój drogi kolego — rzekł do Brichota, rozważywszy w myśli, czy *kolega* jest terminem właściwym — mam pewne pragnienie — wiedzieć czy istnieją inne drzewa w nomenklaturze waszego pięknego języka — francuskiego — łacińskiego — normandzkiego. Pani (miał na myśli panią Verdurin, mimo że nie śmiał na nią spojrzeć) wspomniała mi, że pan wie wszystko. Czy to nie jest właśnie chwila...

— Nie, to jest chwila żeby jeść — przerwała pani Verdurin, widząc że obiad się przeciąga.

— A, dobrze! — odparł Skandynawczyk, spuszczać głowę w talerz ze smutnym i zrezygnowanym uśmiechem. — Ale muszę pani zwrócić uwagę, że pozwoliłem sobie na ten kwestjonariusz — przepraszam, na tę kwestę — dlatego że mam jutro wrócić do Paryża na obiad w la Tour d'Argent albo w Hôtel Meurice. Mój kolega — francuski — pan Boutroux ma nam mówić o seansach spirytystycznych — przepraszam, o spirytualjach, które kontrolował.

— Nieświetna jest ta restauracja la Tour d'Argent — rzekła pani Verdurin zniecierpliwiona. — Zdarzało mi się tam jeść fatalnie.

— Ale czy ja się mylę, czy też żywność, którą się jada u pani, jest najwytworniejszą kuchnią francuską?

— Mój Boże, nie jest szczególnie zła — odparła pani Verdurin ulagodzona. — A jeżeli pan przyjdzie na przyszłą środę, będzie lepsza.

— Ale ja jadę w poniedziałek do Algieru, a stamtąd na Przylądek Dobrej Nadziei. I kiedy będę na Przylądku Dobrej Nadziei, nie będę już mógł spotkać mego znakomitego kolega, przepraszam, nie będę mógł spotkać mego konfratra.

I przez posłuszeństwo, załatwiwszy te wsteczne przeprosiny, zaczął jeść z zawrotną szybkością. Ale Brichot był nazbyt szczęśliwy, że może przytoczyć dalsze roślinne etymologie; to zaś co mówił zainteresowało Norwega tak, iż znowu przestał jeść, dając znak że mogą mu zabrać pełny talerz i przejść do następnego dania.

— Jeden z czterdziestu nieśmiertelnych nazywa się Houssaye, czyli miejsce obsadzone ostrokrzewem (*boux*); w nazwisku bystrego dyplomaty pana d'Ormesson odnajdzie pan wiąz, *orme*, *ulmus*, drogi Wergilemu, dający nazwę miastu Ulm; w nazwisku jego kolegów, pana de la Boulaye, *bouleau*, brzozę; u pana d'Aunay, *l'aune*, olchę, u pana de Bussiere, *buis*, bukszpan; u pana Albaret, *l'aubier*, białodrzew (przyrzekłem sobie powtórzyć to Celeście); u pana de Cholet *choux*, kapustę, jabłoń zaś w nazwisku pana de la Pommeraye, którego prelekcję słyszeliśmy — przypominasz sobie, Saniette — w czasach kiedy dobrego Porela wysłano na krańce świata jako prokonsula Odeonji?

— Powiedział pan, że Cholet pochodzi od *choux* — rzekłem. — Czy stacja, którą minąłem przed przybyciem do Doncières, Saint-Frichoux, również pochodzi od kapusty?

— Nie, Saint-Frichoux, to *sanctus Fructuosus*, tak jak *Sanctus Ferreolus* wydał Saint-Fargeau, ale to wcale nie jest normandzkie.

— On wie za dużo rzeczy, nudzi nas — zaseplenila łagodnie rosyjska księżna.

— Tyle jeszcze innych nazw interesuje mnie, ale nie mogę pana pytać o wszystko naraz. I, zwracając się do Cottarda, spytałem: — Czy pani Putbus jest tutaj? Słyszac nazwisko Saniette'a, wymówione przez profesora Brichot, Verdurin rzucił na żonę i na doktora Cottard ironiczne spojrzenie, które zbiło z tropu płochliwego gościa. — Nie, Bogu dzięki odpowiedziała pani Verdurin, która dosłyszała moje pytanie. — Postarałam się odwrócić jej wilegaturę ku Wenecji, uwolniliśmy się od niej na ten rok.

— Ja sam będę miał prawo do dwóch drzew rzekł p. de Charlus — bo niemal że już nająłem domek między Saint-Martin-du-Chêne a Saint-Pierre-des-Ifs.

— Ależ to bardzo blisko stąd! Mam nadzieję, że pan będzie często zaglądał do nas w towarzystwie Charlie Morel. Trzeba się tylko porozumieć z naszą gromadką co do pociągów; jest pan o dwa kroki od Doncières — rzekła pani Verdurin, która nie znośła aby ktoś przyjeżdżał innym pociągiem i nie o tych godzinach, na które wysyłała powozy. Wiedziała, jak dalece stroma droga do Rafespeliere, nawet jeżeli się objeżdżało poza Féterne (co opóźniało przyjazd o pół godziny), jest ciężka, i bała się, że ci co przyjadą osobno, nie znajdą wehikulów, lub też, nie ruszywszy się w istocie z domu, wezmą za pretekst to że jakoby nie znaleźli koni w Douville-Féterne a nie czuli się na siłach wspinania się pieszo. P. de Charlus odpowiedział na zaproszenie jedynie niemym ukłonem.

— Nie musi być łatwy na codzien, ma minę strasznie nadętą — szepnął do Skiego doktor, który sam bardzo prosty mimo powierzchownej warstwy dumy, nie starał się ukryć, że Charlus drażni jego snobizm. — Nie wie z pewnością, że we wszystkich miejscach kąpielowych, a nawet w Paryżu w klinikach, lekarze, dla których jestem oczywiście „wielkim mogolem”, uważają sobie za zaszczyt przedstawiać mnie wszelkiej arystokracji która się przydarzy i która ze mną nie dmie. To mi nawet dosyć uprzyjemnia pobyt w miejscach kąpielowych — dodał niedbale. — Nawet w Doncières, lekarz pułkowy, który jest domowym lekarzem pułkownika, zaprosił mnie z nim na śniadanie, upewniając, że moja sytuacja daje mi tytuły do obiadu z samym generałem. A ten generał, to był jegomość *de* coś tam. Nie wiem, czy jego pergaminy nie są dawniejsze od papierów tego barona. — Niech pan się nie gorącuje dla tych głupich siedmiu pałek — odparł półgłosem Ski i dodał coś dwuznacznego, czego nie dosłyszałem zajęty słuchaniem tego, co Brichot mówił do barona.

— Nie, prawdopodobnie — z żalem muszę to panu powiedzieć — ma pan tylko jedno drzewo, bo o ile Saint-Martin-du-Chêne jest oczywiście *Sanctus Martinus juxte quercum*, w zamian za to słowo *if* to może być poprostu źródłosłów, *ave, eve*, co znaczy „wilgotny”, jak w Aveyron, Lodève, i co się przechowało w słowie *évier*, zlew. To woda, *l'eau*, która po bretońsku zwie się Ster, Stermaria, Sterlaer, Sterbouest, Ster-en-Dreuchen.

Nie słyszałem końca, bo mimo całej przyjemności jaką mi sprawiło nazwisko Stermaria, mimowoli słyszałem Cottarda, koło którego siedziałem, szepczącego do Skiego:



— A, ależ ja nie wiedziałem. W takim razie to jest jegomość, można powiedzieć obrotny. Jakto! on należy do tego cechu. A przecie nie ma worków pod oczami. Będę musiał uważać na swoje nogi pod stołem, mógł by jeszcze zapalać do mnie. Zresztą, to mnie nie dziwi zbyttnio. Widuję wielu „dobrze urodzonych” pod tuszem, w stroju Adama; wszystko mniej lub więcej degeneraci. Nie gadam z nimi, bo ostatecznie jestem osobą urzędową, toby mi mogło zaszkodzić. Ale wiedzą doskonale, kto ja jestem.

Saniette, którego przestraszyło odezwanie się Brichota, zaczynał oddychać, jak ktoś kto, bojąc się burzy, widzi, że po błyskawicy nie nastąpił żaden pomruk grzmotu; naraż usłyszał pana Verdurin, zadającego mu pytanie i prażącego nieszczęśliwca wzrokiem w czasie odpowiedzi, tak aby go z punktu zbić z tropu i nie dać mu przyjść do siebie.

— Ale pan się zawsze z tem tań, że pan uczęszcza na poranki do Odeonu, Saniette?

Drżąc niby rekrut przed sierżantem sadystą, Saniette skurczył swoją odpowiedź do najmniejszych rozmiarów iżby laniej mogła się umknąć ciosom: „Raz, na *Chercheuse*”.

— Co on gada! — ryknął Verdurin, z miną zarazem zbrzydzoną i wściekłą, marszcząc brwi, jakgdyby trzeba było całej jego uwagi na to aby pojąć coś niezrozumiałego. Po pierwsze, nikt nie rozumie co pan mówi: co pan tam masz takiego w ustach? — spytał Verdurin, coraz to brutalniejszy, robiąc aluzję do „klusków w gębie” Saniette’a.

— Biedny Saniette, ja nie chcę żeby go dręczyć — rzekła pani Verdurin tonem fałszywie litosnym, raczej poto aby nikomu nie zostawić wątpliwości co do obrażających intencji męża.

— Byłem na Ch... Che... che... che... staraj się pan mówić jasno — rzekł Verdurin; nawet pana nie słyszę.

Prawie wszyscy wierni pękali ze śmiechu, robiąc wrażenie bandy ludożerców, w których rana zadana białemu rozbudziła smak krwi. Bo zmysł naśladownictwa i brak odwagi rządzą skupieniami towarzyskimi tak jak tłumami. I wszyscy śmieją się z kogoś, kto jest przedmiotem kpin, choćby go mieli podziwiać w dziesięć lat później w kole gdzie jest przedmiotem podziwu. W taki sam sposób lud wypędza lub wita okrzykami królów.

— No, to nie jego wina — rzekła pani Verdurin.

— I nie moja; nie chodzi się na obiady, kiedy się już nie umie mówić.

— Byłem na *Chercheuse d’esprit* Favarta.

— Co! to *Chercheuse d’esprit* nazywa pan *Chercheuse*? A! to wspaniale, mógłbym sto lat myśleć i nie wpadłbym na to — wykrzyknął Verdurin, który, w innym wypadku, byłby z miejsca uznał że ktoś nie jest kulturalny, że „nie chwyta”, usłyszawszy że ów ktoś wymawia pełny tytuł niektórych dzieł. Naprzykład trzeba było mówić *Chory*, albo *Mieszczanin*, i ktoś ktoby dodał „z urojenia”, albo „szlachcicem”, dowiódł by że „nie należy do cechu”, tak samo jak w salonie ktoś dowodzi że nie jest człowiekiem z towarzystwa, mówiąc Montesquiou-Fezensac, zamiast Montesquiou<sup>955</sup>.

— Ależ w tem nie ma nic osobliwego — rzekł Saniette zdyszany z emocji ale uśmiechnięty, mimo iż nie miał do tego ochoty. Na to pani Verdurin wybuchnęła. — Och! owszem! — wykrzyknęła parszkając śmiechem. — Może pan być pewny, że nikt w świecie nie zgadłby iż chodzi o *Chercheuse d’Esprit*.

Verdurin podjął łagodnym głosem, zwracając się równocześnie do Brichota i do Saniette’a: — To ładna rzecz zresztą, ta *Chercheuse d’Esprit*.

To proste, poważnie wygłoszone zdanie, w którym nie możnaby znaleźć cienia złośliwości, sprawiło biednemu Saniette nieopisaną ulgę i wznieciło w nim tyleż wdzięczności co gdyby to była uprzejmość. Nie mógł wyrzec ani słowa, trwał w pełnym szczęścia milczeniu. Brichot był wymowniejszy.

— To prawda, odparł; i gdyby ją podać za utwór jakiego sarmackiego lub skandynawskiego autora, możnaby przeprzeć kandydaturę tej *Chercheuse d’Esprit* na wakans arcydzieła. Ale, powiedzmy to bez uchybienia ceniom milego Favart, on nie miał nic ibsenowskiego. (Tu Brichot zacerwienił się po uszy, pomyślawszy o norweskim filozofie, który miał minę nieszczęśliwą, bo napróżno starał się dojść co za roślinę mógł przedstawić „buzszpan”, który Brichot zacytował przed chwilą *à propos* pana Bussiere). Zresztą satrapia Porela jest teraz zajęta przez funkcjonarjusza, który jest prawowiernym tolsto-

<sup>955</sup>Montesquiou — hr. Robert de Montesquiou, do którego często spotyka się aluzje w tym utworze, był wieloletnim przyjacielem Prusta i mistrzem jego młodości. [przypis redakcyjny]

jowcem, bardzo więc możliwe jest, że ujrzymy pod sklepieniami Odeonu *Annę Kareninę* lub *Zmartwychwstanie*.

— Znam portret Favarta, o którym pan mówi — rzekł Charlus. — Widziałem jego ładną odbitkę u hrabiny Molé.

Nazwisko hrabiny Molé wywarło silne wrażenie na pani Verdurin.

— A, pan bywa u pani de Molé! — wykrzyknęła. Myślała, że mówi się *hrabina Molé*, *pani Molé*, jedynie przez skrót, tak jak słyszała że się mówi *Roban*, albo, jak ona sama mówiła wgardliwie *pani La Trémoille*. Nie wątpiła, że hrabina Molé, znająca królową grecką i księżną de Caprarola, ma więcej niż ktokolwiek prawo do „partykuły”, i na ten raz zdecydowała się przyznać ją osobie tak świetnej, która okazała się dla niej bardzo uprzejma. Toteż, aby okazać że mówi tak umyślnie i nie żałuje hrabinie owego „de”, ciągnęła: — Ależ ja wcale nie wiedziałam, że pan zna panią de Molé! (tak jakby to było podwójnie niezwykle, i to że p. de Charlus zna ową damę, i to iż pani Verdurin nie wiedziała że on ją zna. Otóż „świat” — lub przynajmniej to co p. de Charlus tak nazywał — tworzy całość stosunkowo jednolitą i zamkniętą. O ile zrozumiałe jest, że w mieszanym ogromie mieszczaństwa adwokat powie komuś, kto zna jego szkolnego kolegę: „Ale skąd, u licha, może pan go znać?” o tyle wzamian podziwiać traf, który mógł zetknąć pana de Charlus z hrabiną Molé, jest mniej więcej tem samym, co dziwić się, że ktoś rozumie sens słowa *kościół* lub *las*. Co więcej, nawet gdyby taka znajomość nie wypływała całkiem naturalnie z praw świata, nawet gdyby była przypadkowa, cóż byłoby dziwnego, że pani Verdurin nie wie o tem, skoro widziała barona pierwszy raz, a stosunki jego z panią Molé nie były zgola jedyną rzeczą, której o nim nie wiedziała, bo, ściśle mówiąc, nie wiedziała o nim nic).

— Kto to grał tę *Chercheuse d'esprit*, mój drogi Saniette? — spytał Verdurin.

Mimo iż czując że burza minęła, ex-archiwista wahał się z odpowiedzią.

— Ale bo też — rzekła pani Verdurin — ty go onieśmielasz; kpisz sobie ze wszystkiego co powie, a potem chcesz, żeby odpowiadał! No Saniette, powiedz pan kto to grał, dostanie pan galantyny do papierka — rzekła pani Verdurin, robiąc złośliwą aluzję do ruiny, w jaką Saniette popadł samochcąc, ratując jednego z przyjaciół.

— Przypominam sobie tylko, że Samary grała Zerbinę.

— Zerbinę? Co to takiego! — wrzasnął pan Verdurin tak jakby się paliło.

— To *emploi* starego repertuaru, styl kapitana Fracasse, tak jakby ktoś powiedział *Waligóra*, *Pedant*.

— Sameś pedant, Zerbina! Nie, ależ on ma fioła — krzyczał Verdurin.

Pani Verdurin patrzyła na gości śmiejąc się, tak jakby chciała usprawiedliwić Saniette'a.

— Zerbina! on sobie wyobraża, że wszyscy odrazu wiedzą co to znaczy. Jesteś jak pan de Longepierre, najgłupszy człowiek jakiego znałem, który powiedział tu kiedyś potocznie „Banat”. Nikt nie wiedział, o czym on mówi. W końcu dowiedziano się, że to jest prowincja Serbji.

Aby położyć koniec męce Saniette'a, którą odczuwałem bardziej od niego samego, spytałem Brichota, czy wie co znaczy Balbec.

— Balbec jest prawdopodobnie zepsute Dalbec — odparł. — Trzebaby zbadać akty królów Anglji, suzerenów Normandji, bo Balbec zawisłe było od baronji Duwru, z której to przyczyny powiadano często Balbec d'outre-mer, Balbec-en-Terre. Ale sama baronja Duwru była zawisła od biskupstwa Bayeux i mimo praw, jakie mieli czasowo Templariusze nad opactwem począwszy od Ludwika d'Harcourt, patriarchy Jerozolimy i biskupa Bayeux, biskupi tej djecezji byli kolatorami w dobrach Balbec. Wyjaśnił mi to dziekan z Doville, człowieczek łysy, wymowny, narwany i smakosz, żyjący w obserwancji reguł Brillat-Savarina; ten wyłożył mi, w terminach ociupinkę sybilińskich, owe dość niepewne mądrości, racząc mnie równocześnie cudownymi „frytkami”.

Podczas gdy Brichot uśmiechał się aby podkreślić humor mieszczący się w łączeniu rzeczy tak rozbieżnych i używaniu dla rzeczy pospolitych języka ironicznie górnego, Saniette siłił się ulokować jakiś dowcip, zdolny zatrzeć jego poprzednie upokorzenie. Dowcip był z gatunku zwanego niegdyś *kalamburem*, ale w zmienionej formie, ponieważ istnieje ewolucja kalamburów jak ewolucja rodzajów literackich, epidemij które znikają zastąpione innymi, etc... Niegdyś formą konceptu były t. zw. „szczyty”. Ale ten rodzaj był przestarzały, nikt go już nie używał, jedynie Cottard zdolny był czasem powiedzieć

przy partyjce pikiety: „Czy pan wie, jaki jest szczyt roztargnienia? Wziąć edykt nantejski (*l'édit de Nantes*) za angielską lady”.

Szczyty zastąpiono przydomkami. W gruncie, był to zawsze ten sam stary rodzaj, ale ponieważ przydomki były w modzie, nie widziano tego. Nieszczęściem dla Saniette'a, kiedy te koncepty były nie jego, a najczęściej były nie znane „paczce”, wygłaszał je tak nieśmiało, że mimo śmiechu jakim je kończył aby podkreślić ich humorystyczny charakter, nikt nie rozumiał. A jeżeli przeciwnie koncept był jego, ponieważ zwykle Saniette wpadł na niego w rozmowie z którymś z wiernych, ów powtarzał przywłaszczając go sobie, tak że koncept był już znany, ale nie pod autorstwem Saniette'a. I kiedy wyruszył z takim dowcipem, koncept okazywał się znany; ale przez to właśnie że Saniette był jego autorem, pomawiano go o plagjat.

— Otóż — ciągnął Brichot — *Bec* po normandzku znaczy strumień: istnieje opactwo *Bec*, *Mobec* czyli strumień na bagnie (*Mor* albo *Mer* znaczyło *marais*, bagno, jak w *Morville*, albo w *Bricquemar*, *Alvimare*, *Cambremer*). *Bricquebec*, strumień z wyżyn, pochodzi od *Briga*, miejsce warowne, jak w *Briqueville*, *Bricquebosc*, *Brie*, *Briand*, lub od *brice*, most, to samo co *bruck* po niemiecku (*Innsbruck*), a w angielskim *bridge*, które kończy nazwy tylu miejscowości (*Cambridge* itd.). Ma pan w Normandji jeszcze wiele innych *bec*: *Caudebec*, *Bolbec*, *Robec*, *Bec-Hellouin*, *Becquerel*. To jest normandzka forma germańskiego *Bach*, *Offenbach*, *Ansbach*. *Varaguebec*, od starego słowa *varaigne*, równoważnego z *garenne*, lasy, stawy chronione. Co się tyczy *Dal* — podjął Brichot — to jest forma *thal*, *vallée*, dolina: *Darnetal*, *Rosendal*, a nawet — aż koło *Louviers* — *Beccal*. Rzeka, która dała nazwę miejscowości *Dalbec*, jest zresztą urocza. Widziana ze skał nadbrzeżnych (*falaise*, po niemiecku *fels*: ma pan nawet niedaleko stąd na wyżynie ładne miasteczko *Falaise*), sąsiaduje niemal z iglicami wież kościoła — w rzeczywistości bardzo odległego — i robi wrażenie że je odbija.

— Wyobrażam to sobie — rzekłem — to efekt optyczny, który *Elstir* specjalnie lubi. Widziałem to na kilku jego szkicach.

— *Elstir*! Pan zna naszego „mistrza”? — wykrzyknęła pani *Verdurin*. Wie pan, że ja z nim byłem bardzo, bardzo blisko. Dzięki niebu, już go nie widuję. Nie, ależ spytajcie *Cottarda*, *Brichota*: miał u mnie stale swoje nakrycie przy stole, przychodził codziennie. To człowiek, o którym można powiedzieć, że mu nie posłużyła zdrada naszej paczki. Pokażę panu za chwilę kwiaty, które malował dla mnie; zobaczy pan, co za różnica z tem co robi teraz i czego nie lubię wcale, ale to ani ani! Jaktó! przecie namalował na moje zamówienie portret *Cottarda*, nie licząc mnóstwa moich portretów i szkiców.

— I zrobił profesorowi włosy lila — rzekła pani *Cottard*, zapominając że wówczas mąż jej nie był nawet docentem. — Nie wiem, proszę pana, czy pan znajduje, że mąż ma włosy lila.

— To nic — rzekła pani *Verdurin* podnosząc głowę z miną pełną wzdargi dla pani *Cottarda* a podziwu dla artysty; to był kawał tęgiego kolorysty, wspaniałego malarza. Podczas gdy teraz — rzekła, zwracając się do mnie — nie wiem czy pan nazwie malarstwem wszystkie te kompozycje, te wielkie kobyły, które wystawia od czasu jak nie bywa u mnie! Dla mnie to malatura, szablon, brak temu plastyki, indywidualności. Odnalazłoby się tam wszystkich potrosze.

— On wskrzesza wdzięk XVIII wieku, ale unowocześniony — rzekł spiesźnie *Saniette*, zelektryzowany i zachęcony moją uprzejmością. Ale mnie bliższy jest *Helleu*.

— Nie ma żadnego związku między tem a *Helleu* — rzekła pani *Verdurin*.

— Owszem, to jest XVIII wiek z gorączką. To *Watteau* parowy.

I *Saniette* zaczął się śmiać.

— Och, znane, arcyznane, od lat mnie tem częstują — rzekł *Verdurin*, któremu w istocie *Ski* zaprodukował swego czasu ten koncept, ale jako swój własny. To jest prawdziwy pech, że kiedy pan raz coś powiedział zrozumiale i coś dość zabawnego, to jest nie pańskie.

— Szczerze mnie to martwi — podjęła pani *Verdurin* — bo to był zdolny człowiek, zmarnował wcale ładny temperament malarski. Ba, gdyby został tutaj! Wyszedłby na pierwszego pejzażystę naszych czasów. I to kobieta ściągnęła go tak nisko! Nie dziwi mnie to zresztą, bo on jako człowiek był miły, ale pospolity. W gruncie, natura raczej mierna. I powiem panu, że m to wyczuła odrazu. Bogiem a prawdą, nie interesował mnie

nigdy. Lubiłam go, to wszystko. Przytem co za brudas. Czy pan lubi ludzi, którzy się nigdy nie myją?

— Co to jest, takie ładne w tonie, co myjemy? — spytał Ski.

— To się nazywa mus truskawkowy — rzekła pani Verdurin.

— Ależ to jest cza-ru-jące. Trzebaby do tego wydobyć parę butelek Château-Margaux, Château-Laffite, Porto.

— Nie umiem wam powiedzieć, jak on mnie bawi, on nie pije nic prócz wody — rzekła pani Verdurin, uciechą, jaką znajdowała w tym żarcie, chcąc pokryć przestach, o jaki przyprowadziła ją ta rozrzutność.

— Ale to nie poto żeby pić — odparł Ski; — napełni pani wszystkie kieliszki, przyniosą cudowne brzoskwinie, olbrzymie morele, o tam, nawprost zachodu słońca, to będzie przepych w stylu najpiękniejszego Veronese.

— I będzie kosztowało prawie równie drogo — mruknął Verdurin.

— Ale zabierzcie te sery tak brzydkie w tonie — rzekł Ski, starając się wydrzeć talerz „pryncypałowi”, który bronił swego *gruyère* ze wszystkich sił.

— Pojmuje pan, że ja nie tęsknię za Elstirem — rzekła pani Verdurin; nasz Ski to inny gatunek artysty! Elstir, to praca, to człowiek który nie umie się oderwać od swego płótna. To dobry uczeń, prymus konkursowy. Ski, ba, ten nie zna nic poza swoją fantazją. Potrafi zapalić papierosa w pół obiadu.

— W gruncie rzeczy, ja nie wiem, czemu pani nie chciała przyjmować jego żony — rzekł Cottard — byłby tu dotąd jak dawniej.

— Słuchaj-no pan, profesorze, czy pan nie raczy być grzeczny? Ja nie przyjmuję tutaj ladacznic — rzekła pani Verdurin, która przeciwnie uczyniła co mogła aby ściągnąć z powrotem Elstira, choćby z żoną. Ale zanim się pobrali, starała się ich pokłócić; powiedziała Elstirowi, że kobieta którą kocha jest głupia, brudna, puszczańska, że kradła. Na jeden raz nie udało się jej pokłócić ich. Elstir zerwał, ale z salonem Verdurinów; i winał sobie tego, jak nawróceni błogosławią chorobę lub nieszczęście, które ich odwróciły od świata i ukazały im drogę zbawienia.

— Wspomniała jest profesor — mówiła pani Verdurin. — Niech pan powie odrazu, że mój salon to dom schadzek! Można by rzec, że pan nie wie, kto to jest pani Elstir. Wolalabym raczej przyjąć ostatnią z dziewczyn publicznych! O, nie, na takie rzeczy ja nie idę. Zresztą, powiem panu, że byłoby z mojej strony tem większem głupstwem wdawać się w kompromisy z żoną, skoro mąż mnie już nie interesuje. To staromodne, to już nawet nie jest narysowane!

— To zadziwiająca u człowieka o takiej inteligencji — rzekł Cottard.

— Och, nie — odparła pani Verdurin — nawet w epoce kiedy miał talent — bo on go miał, ladaco, miał go po dziurki w nosie — co drażniło u niego, to absolutny brak inteligencji.

Aby wydawać ten sąd o Elstirze, pani Verdurin nie czekała zwady z malarzem, ani tego aby przestała lubić jego malarstwo. A to stąd, że nawet w czasie kiedy należał do „paczki”, zdarzało się Elstirowi spędzać całe dnie z jakąś kobietą, którą, słusznie czy niesłusznie, pani Verdurin uważała za „gęś”, co, wedle jej zdania, nie przystało człowiekowi inteligentnemu.

— Nie — rzekła tonem sędziego odmierzającego sprawiedliwość — sędzę że on i jego żona są jak stworzeni dla siebie. Bóg świadkiem, nie znam w świecie czegoś nudniejszego niż ona: oszalałabym, gdyby mi przyszło spędzić z nią dwie godziny. Ale powiadają, że on ją ma za bardzo inteligentną. Bo też trzeba sobie powiedzieć, nasz „mistrz” był zwłaszcza *potężnie głupi*: widziałam go, jak bywał olśniony osobami wprost nie do pojęcia, pocziwami idjotkami, których za nic nie ścierpiałoby się w naszej paczce. I co powiecie! on pisywał do nich, rozprawiał z niemi, on, Elstir! To nie przeszkadza, że miał strony urocze, och! urocze, urocze, i rozkosznie niedorzeczne oczywiście. (Bo pani Verdurin była przekonana, że ludzie naprawdę wybitni robią tysiące szaleństw. Fałszywy pogląd, w którym jest jednak coś prawdy. Niewątpliwie, owe „szaleństwa” są nieznośne. Ale zwichnięcie równowagi, które objawia się dopiero na dłuższą metę, jest skutkiem owładnięcia mózgu ludzkiego przez subtelnosci, do których nie jest pospolicie stworzony. Tak iż dziwactwa uroczych ludzi przywodzą do rozpacz, ale nie ma prawie uroczych ludzi, którzy by skądinąd nie byli dziwakami).

— O, zaraz będę mogła panu pokazać jego kwiaty — rzekła do mnie pani Verdurin, widząc iż mąż daje jej znaki, że można wstać. I podała znów ramię panu de Cambremer. Verdurin chciał się z tego powodu usprawiedliwić przed panem de Charlus, z chwilą gdy baron opuścił panią de Cambremer; chciał mu podać swoje racje, zwłaszcza dla przyjemności porozmawiania o tych światowych odcieniach z człowiekiem utytułowanym, chwilowo niższym od tych, którzy mu wyznaczili miejsce wedle swego uznania. Ale na początek chciał pokazać panu de Charlus, że intelektualnie ceni go zbyt wysoko, aby przypuszczać iż on może zwracać uwagę na takie drobnostki.

— Niech pan daruje, że mówię o tych błahostkach — zaczął — bo zgaduję, jak mało pan do nich przykłada wagi. Mieszczkańskie dusze zwracają na to uwagę, ale inni, artyści, ludzie którzy-są naprawdę z „cechu” kpią sobie z tego. A od pierwszych słów, jakieśm zamienili, zrozumiałem, że pan jest z tych...

P. de Charlus, który dawał temu wyrażeniu sens zgoła odmienny, wzdrygnął się. Po oczkowaniach doktora, brutalna szczerłość pana domu zatknęła go. „Niech pan nie protestuje, drogi panie, należy pan, to jasne jak dzień — podjął Verdurin. — Niech pan zauważy, ja nie wiem, czy pan uprawia jaką sztukę, ale to nie jest konieczne. To nawet nie zawsze jest wystarczające. Degrange, który właśnie umarł, grał doskonale, z pierwszorzędną techniką, ale nie był „z tych”; czuło się zaraz, że on nie należy do cechu. Brichot też nie. Morel tak, moja żona tak, czuję że pan tak...

— Co mi pan miał powiedzieć — przerwał p. de Charlus, który uspokoił się nieco co do intencji Verdurina, ale wolałby aby gospodarz mniej głośno krzyczał te dwuznaczne słowa.

— Posadziliśmy pana po lewej stronie — odparł Verdurin.

Z wyrozumiałym, dobrodusznym i impertynenckim uśmiechem p. de Charlus odpowiedział: „Ale cóż znowu! To nie ma żadnego znaczenia, *tutaj!* I zaśmiał się śmiechem, który mu był właściwy — śmiechem odziedziczonym prawdopodobnie po jakiejś bawarskiej lub lotaryńskiej babce, która go znowuż odziedziczyła w zupełnie identycznym brzmieniu po swojej babce, tak iż śmiech ów rozlegał się, nieodmienny, od sporej ilości wieków, w starych małych dworach Europy i że smakowano jego szacowną jakość, niby ton dawnych instrumentów, dziś już niezmiernie rzadkich. Są chwile, w których aby kogoś całkowicie odmalować, trzeba by dołączyć do opisu fonetyczną imitację: i tak, opis osobowości pana de Charlus zawsze będzie niekompletny przez brak tego tak subtelnego, tak lekkiego śmiechu; podobnie jak niektórych dzieł Bacha nigdy nie odda się wiernie, bo orkiestrom brak owych trąbek o tak specjalnym dźwięku, na które autor pisał którąś partję.

— Ale — wyjaśnił Verdurin dotknięty — zrobiliśmy to umyślnie. Ja nie przywiązuję żadnego znaczenia do tytułów — dodał z owym wzdrygniętym uśmiechem, jaki tyle znajomych mi osób miało (w przeciwieństwie do mojej babki i matki) wobec czegoś czego nie posiadają, aby w ten sposób ludziom posiadającym to odmówić wyższości. Ale ostatecznie — ciągnął Verdurin — skoro właśnie jest u nas pan de Cambremer i skoro on jest margrabią, a pan tylko baronem...

— Przepraszam pana — odparł wyniośle p. de Charlus zdumionemu Verdurinowi, ale ja jestem także dukiem Brabancji, damoiseau de Montargis, księciem d'Oleron, de Carency, de Viazeggio i des Dunes. Zresztą to jest absolutnie bez znaczenia. Niech się pan tem nie trapi — dodał baron z subtelnym uśmiechem, który zakwitnął na jego ustach przy tych ostatnich słowach. Od razu poznałem, że pan nie jest obyty.

Pani Verdurin podeszła do mnie, aby mi pokazać kwiaty Elstira. O ile sam akt prozowanego obiadu, oddawna mi tak obojętny, wprawił mnie przeciwnie — w tej formie, która go odnawiała całkowicie: droga nad morzem, następnie wspinanie się powozem na dwieście metrów nad poziom — w rodzaj pijaństwa, pijaństwo to nie rozprószyło się w la Raspelière. „O, niech pan spojrzysz — rzekła pani Verdurin, pokazując duże i wspaniałe róże Elstira, których tłusty szkarlat i pienista białosc odcinały się nieco zbyt śmietankowym refleksem od żardinierki w której tkwiły. Czy pan myśli, że on miałby jeszcze dość wigoru, żeby go uchwycić? Czy to nie jest kapitalne! A przytem, jakie to piękne jako materja, miałyby się ochotę pomacać. Nie umiem panu powiedzieć, jakie to było zabawne przyglądać się jak on to malował. Czuć było, jak go pasjonuje szukanie tego efektu.

I spojrzenie pryncypalki zatrzymało się marząco na podarku artysty, streszczającym nie tylko jego wielki talent, ale ich długą przyjaźń, przetrwała już tylko w tych pamiątkach; poza kwiatami, zerwanymi niegdyś przez artystę dla niej, zdawało się pani Verdurin, że widzi piękną rękę, która je namalowała, w ciągu jednego ranka, w pełni ich kraszy; tak iż jedne na stole, drugie oparte o fotel jadalni, mogły figurować wówczas nawprost siebie przy śniadaniu pryncypalki: róże jeszcze żywe i ich nawpół podobny portret. Tylko nawpół, bo Elstir nie mógł spojrzeć na kwiat inaczej niż przenosząc go równocześnie w ten wewnętrzny ogród, w którym trzeba nam na zawsze pozostać. Pokazał w tej akwareli zjawę róż takich jakie widział i jakich bez niego nie poznałoby się nigdy; tak iż można powiedzieć, że ten malarz, jak zmysłny ogrodnik, wzbogacił rodzinę róż nową odmianą.

— Z dniem w którym opuścił naszą paczkę, to był człowiek skończony. Podobno moje obiady kradły mu czas, tamowałam rozwój jego *geniuszu* — rzekła ironicznie pani Verdurin. — Jakgdyby obcowanie z kobietą taką jak ja mogło nie być zbawienne dla artysty! — wykrzyknęła z dumą.

Tuż obok nas, p. de Cambremer, który już był usiadł, widząc stojącego pana de Charlus, zaznaczył lekko gestem, że chce wstać i ustąpić krzesła. Gotowość ta była może wyrazem jedynie intencji margrabiego, zdawkowej grzeczności. P. de Charlus wolał nadać jej sens powinności, do jakiej prosty szlachcic poczuwa się wobec udzielnego księcia; ale uznał, iż najlepszym sposobem stwierdzenia swoich praw, będzie uchylić się od tego przywileju. Toteż wykrzyknął: „Ale cóż znowu! Ależ panie! Co za pomysł!” Podstępnie żywy ton tego protestu miał już coś bardzo Guermantes, a bardziej jeszcze rozkazujący, zbyteczny i poufały gest, jakim p. de Charlus zaciążył obiema rękami — jakgdyby chcąc go zmusić aby usiadł — na ramionach pana de Cambremer (który wcale nie wstał):

— Cóż znowu, drogi panie! — nalegał baron — jeszczeby tego brakowało! Nie ma żadnej racji! W naszych czasach chowa się to dla księżąt krwi.

Tak samo jak pani Verdurin tak i Cambremerom nie sprawiłem przyjemności swoim entuzjazmem dla ich siedziby: pozostałem bowiem zimny wobec piękności, na które oni zwracali moją uwagę, a egzaltowałem się mętnymi reminiscencjami; czasem nawet wyznawałem im swój zawód, znajdując jakąś rzecz w niezgodzie z tem, o czym nazwa jej kazała roić. Oburzyłem panią de Cambremer, mówiąc że myślałem iż la Raspelière jest bardziej wiejska. W zamian za to, zatrzymałem się z upojeniem, aby wdechać wiatr, który wiał przez szparę w drzwiach. „Widzę że pan lubi przeciągi!” rzekli. Pochwała zielonej lustrzyny, zasłaniającej stłuczoną szybę, również nie zyskała powodzenia. „Cóż za ohyda!” wykrzyknęła margrabina. Szczytem było, kiedy powiedziałem: „Największą radość miałem zaraz z początku. Kiedy usłyszałem własne kroki rozbrzmiewające w sieni, miałem wrażenie że znalazłem się w kancelarii wiejskiego urzędu gminnego, gdzie wisi mapa powiatu”. Tym razem, pani de Cambremer stanowczo odwróciła się plecami.

— Nie zasmuciło cię zbytnio to wszystko? — spytał jej mąż z tą samą współczującą troskliwością, z jaką by się informował jak żona zniosła żałobną ceremonję. Są tu ładne rzeczy. Ale, o ile pewne reguły niezawodnego smaku nie zakreślą nieżyczliwości nieodpartych granic — potrafi ona wszystko skrytykować w osobach lub w domu ludzi, którzy zajęli wasze miejsce. Toteż pani de Cambremer odparła: „Tak, ale nie są na swoim miejscu. I zaprawdę, czy w istocie takie ładne?”

— Zauważyłaś — rzekł p. de Cambremer ze smutkiem nie pozbawionym pewnego hartu — są w tym salonie płótna Jouy, wytarte aż do nitki, rzeczy, do cna zużyte!

— A ta materja w wielkie róże, jak derka chłopska! — rzekła pani de Cambremer, której nawskroś sztuczna kultura uznawała jedynie transcendentalną filozofję, impresjonistyczne malarstwo i muzykę Debussy’ego. I aby krytykować nie tylko w imię zbytku i lecz i w imię smaku, dodała: — I dali w oknach zazdrostki! Cóż za pogwałcenie stylu! Cóż chcesz, ci ludzie nie mają o tem pojęcia, gdzież mieli się nauczyć? To muszą być bogaci hurtownicy, którzy się wycofali z interesów. I tak nieźle, jak na nich.

— Świeceńniki są wcale ładne — rzekł margrabia, przyczem nikt by nie zgadł, czemu wyłącza świeceńniki, tak samo jak nieuchronnie, za każdym razem kiedy była mowa o kościele — czy to była katedra w Chartres, w Reims, w Amiens lub kościół w Balbec — zawsze wychwalał skwapliwie: „organy, ambonę i dzieła miłosierdzia”.

— Co się tyczy ogrodu, nawet nie mówmy... — rzekła pani de Cambremer. — To istna katastrofa. Te ścieżki całkiem zwichrowane!

Skorzystałem z tego że pani Verdurin kazała podać kawę, aby rzucić okiem na list, który mi oddał pan de Cambremer a w którym matka jego zapraszała mnie na obiad. W tych kilku wierszach, pismo zdradzało indywidualność, którą odtąd miałem rozpoznać wśród wszystkich innych, bez potrzeby uciekania się do hipotezy specjalnych piór, tak samo jak malarz, dla wyrażenia oryginalnej wizji, nie potrzebuje rzadkich i tajemniczo sporządzanych farb. Nawet paralityk, dotknięty po ataku agrafią i patrzący na litery jedynie jak na niezrozumiałe rysunek, odgadłby, że pani de Cambremer wiezie się ze starej rodziny, gdzie entuzjastyczny kult literatury i sztuki przewietrzył nieco szlacheckie tradycje. Odgadłby również, około którego roku margrabina nauczyła się równocześnie pisać i grać Chopina. Była to epoka, gdy ludzie dobrze wychowani obserwowali reguły uprzejmości oraz epoka t. zw. *trzech przymiotników*. Pani de Cambremer kombinowała obie. Jeden pochwalny przymiotnik nie wystarczał jej; zawsze po nim następował (po kresce) drugi; potem (po drugiej kresce) trzeci. Ale właściwością jej było, że wbrew ich towarzyskiemu i literackiemu celowi, kolejność trzech przymiotników przybierała w bicikach pani de Cambremer postać nie progresji ale *diminuendo*. Pani de Cambremer powiadała np. w tym pierwszym liście, że widziała Roberta de Saint-Loup i że bardziej niż kiedykolwiek oceniła jego przymioty „jedyne — rzadkie — istotne”; że Saint-Loup ma być jeszcze u niej z jednym z przyjaciół (właśnie z tym, który kochał się w jej synowej), i że, jeżeli zechce przyjechać z nimi lub bez nich na obiad do Féterne, będzie *zachwycona — szczęśliwa — rada*. Może to płynęło stąd, że chęć uprzejmości była u niej większa niż żyzność wyobraźni i bogactwo słownika; pani de Cambremer uważała za potrzebne wydawać trzy wykrzykniki, ale w drugim i w trzecim umiała dać jedynie węższe echo pierwszego. Niechby się znalazł bodaj jeszcze czwarty, a z pierwotnej uprzejmości nicby już nie zostało. Wreszcie, przez pewne wyrafinowanie prostoty, które z pewnością musiało robić wrażenie w rodzinie a nawet wśród znajomych, pani de Cambremer przywykła zastępować słowo „szczerzy” (które mogłoby się w końcu wydawać kłamliwe) słowem „prawdziwy”. I aby tem lepiej okazać, że w istocie chodzi o coś szczerzego, łamała konwencjonalny szyk, który kazałby kłaść *prawdziwy* przed rzeczownikiem, i kładła go mężnie po nim. Listy jej kończyły się tak: „Niech pan wierzy w moją przyjaźń prawdziwą. Niech pan wierzy w moją sympatję prawdziwą”. Na nieszczęście, zmechanizowało się to tak, że afektowana szczerłość robiła wrażenie kłamliwej grzeczności bardziej niż staroświeckie formuły, o których sensie już się nie myśli. Utrudniał mi zresztą czytanie zgiełk rozmów, nad które wybijał się donośniejszy głos pana de Charlus; ten nie poniechał swojego tematu i mówił do pana de Cambremer:

— Nalegając abym zajął pańskie miejsce, przypomniał mi pan pewnego jegomościa, który wystosował dziś do mnie list, adresując na kopercie: *Jego Wysokość baron de Charlus*, a zaczął list od *Wasza Dostojność*.

— W istocie, pański korespondent przesolił trochę — odparł p. de Cambremer pozwalając sobie na dyskretną wesołość.

P. de Charlus sprowokował tę wesołość, ale jej nie podzielił. — W gruncie — rzekł — drogi panie, zważ pan, iż, biorąc heraldycznie, on miał rację. Nie robię z tego — jak się pan domyśla — kwestji osobistej; mówię tak, jakby chodziło o kogo innego. Ale cóż pan chce, historia jest historją; nic na to nie poradzimy i nie w naszej mocy jest ją zmienić. Nie będę panu cytował cesarza Wilhelma, który w Kiel cały czas świadczył mi *Monseigneur*. Słyszałem, że on tak tytułuje wszystkich diuków francuskich, co jest omyłką i co stanowi może tylko delikatną galanterję, ponad naszemi głowami przeznaczoną dla Francji.

— Delikatną i mniej lub więcej szczerą — rzekł pan de Cambremer.

— Och, nie jestem pańskiego zdania. Zauważ pan, że osobiście, figura tak podrzędna jak ten Hohenzollern, co więcej protestant, i który wyzuł z jego ziem mego kuzyna króla Hanoweru, nie jest człowiekiem, któryby budził moje sympatje dodał p. de Charlus, któremu Hanower zdawał się bardziej leżeć na sercu od Alzacji i Lotaryngji. Ale sądzę, że sympatja, która skłania cesarza ku nam, jest bardzo szczerą. Głupcy powiedzą panu, że to jest cesarz z operetki. On jest, przeciwnie, niesłychanie inteligentny. Nie zna się na malarstwie i zmusił pana Tschudi do usunięcia Elstirów z muzeów państwowych. Ale Ludwik XIV nie lubił malarstwa holenderskiego, też kochał się w paradzie i w rezultacie

był wielkim monarchą. A jeszcze Wilhelm II uzbroił swój kraj w zakresie armji i marynarki tak, jak Ludwik XIV nigdy tego nie zrobił, i mam nadzieję, że jego panowanie nie zazna nigdy klęsk, ćmiących koniec rządów tego, którego zowie się banalnie Królem-Słońce. Republika popełniła mojem zdaniem wielki błąd, odtrącając uprzejmości Hohenzollerna lub dawkując mu je kropłomierzem. On sam zdaje sobie z tego wybornie sprawę i powiada z właściwą sobie celnością słowa: „Ja chcę uścisku dłoni, a nie machnięcia kapeluszem”. Jako człowiek jest Świnia; opuścił, wydał, zaparł się najlepszych przyjaciół, w okolicznościach, w których jego milczenie było równie podle jak ich milczenie było wielkie — ciągnął p. de Charlus, który, wciąż party swoją naturą, osuwał się ku sprawie Eulenburga i przypominał sobie to, co mu powiedział jeden z najdostojniejszych oskarżonych: „Jakież zaufanie musi cesarz pokładać w naszej delikatności, aby się ważyć na podobny proces! I nie pomylił się, ufając naszej dyskrecji. Milczelibyśmy nawet na rusztowaniu”. Zresztą, wszystko to nie ma nic wspólnego z tem co chciałem powiedzieć, mianowicie, że w Niemczech my, jako książęta nie djatygowani, mamy tytuł *Durchlaucht* i że we Francji nasz stopień *Altesse* był uznany publicznie. Saint-Simon utrzymuje, żeśmy go sobie przywłaszczyli, w czym się myli najzupełniej. Racja, jaką podaje, mianowicie że Ludwik XIV zabronił się nam tytułować *królem bardzo chrześcijańskim* i kazał się zwać poprostu królem, dowodzi tylko, żeśmy byli zawiśli od niego, nie zaś żeśmy nie mieli praw książęcych. Inaczej trzebaby ich odmówić księciu Lotaryngji i tytuł innym! Zresztą, wiele naszych tytułów przeszło na nas z domu lotaryńskiego przez Teresę d’Espinoy, moją prababkę, która była córką damoiseau de Commercy.

Spostrzegłszy że go Morel słucha, p. de Charlus rozwinął szerzej racje swoich pretensyj:

— Zwróciłem uwagę bratu, że nie w trzeciej części gotajskiego almanachu, ale w drugiej, aby nie rzec w pierwszej, powinnyby figurować nasza rodzina — rzekł baron, nie zdając sobie sprawy z tego, że Morel nie wie, co to almanach gotajski. Ale to sprawa brata; on jest moim wojennym panem i z chwilą kiedy się z tem godzi i toleruje tę rzecz, nie pozostaje mi nic, jak tylko przymknąć oczy.

— Pan Brichot bardzo mnie zajął — rzekłem do pani Verdurin, która podeszła do mnie; przyczem schowałem list pani de Cambremer do kieszeni.

— To światły umysł i zacny człowiek — odparła chłodno. — Brak mu oczywiście oryginalności i smaku, ma zato straszliwą pamięć. Mówiono o „przodkach” osób, które mieliśmy dziś na obiedzie, o emigrantach, że „niczego nie zapomnieli”. Ale oni mieli przynajmniej tę wymówkę — rzekła przywłaszczając sobie koncept Swanna — że się niczego nie nauczyli. Podczas gdy Brichot wie wszystko i ciska nam na głowę przy obiedzie całą mądrość dykjonarzy. Sądzę, że nazwa żadnego miasta ani wioski nie ma już dla pana tajemnic.

Podczas gdy pani Verdurin mówiła, ja myślałem, że sobie postanowiłem spytać jej o coś, ale nie mogłem sobie przypomnieć o co.

— Jestem pewien, że mówicie o naszym Brichot. Hę, Chantepie, Freycinet, nic wam nie darował. Cały czas patrzałem na naszą kochaną pryncypalkę.

— Widziałam świetnie, omal nie parsknęłam.

Nie umiałbym dziś powiedzieć, jak pani Verdurin była ubrana owego wieczora. Może w danej chwili też nie wiedziałem, bo nie mam zmysłu obserwacji. Ale czując że toaleta jej nie jest bez pretensyj, powiedziałem na ten temat coś miłego, wyraziłem nawet zachwyt. Pani Verdurin była jak prawie wszystkie kobiety, które sobie wyobrażają, że zwrócony do nich komplement jest ścisłym wyrazem prawdy i że to jest sąd wydany bezstronnie, nieodparcie, tak jakby chodziło o dzieło sztuki nie związane z niczyją osobą. Toteż z powagą, która kazała mi się zarumienić za swoją hipokryzję, zadała mi to naiwne i dumne pytanie, zwyczajne w podobnych okolicznościach: „Podoba się panu?”

— Mówicie, jestem tego pewny, o Chantepie — rzekł zbliżając się do nas Verdurin.

Byłem jedyny, który, myśląc o zielonej lustrynie i o zapachu lasów, nie zauważył, że snując swoje etymologie, Brichot ośmieszył się w oczach zebranych. Że zaś wrażenia, rozstrzygające dla mnie o wartości rzeczy, były z rzędu tych, których inne osoby nie doznają lub też uprzątają je z myśli jako coś bez znaczenia (tem samem, gdybym mógł ich udzielić, pozostałyby niezrozumiałe lub wzgardzone), wrażenia te były dla mnie



czemś zupełnie nie do spożytkowania; co więcej, miały tę wadę, że czyniły ze mnie głupca w oczach pani Verdurin, która ujrzała, że ja „leczę” na Brichota. Podobnie wydałem się już pierwiej głupcem pani de Guermantes, bom lubił towarzystwo pani d’Arpajon. Ale co się tyczy Brichota, była tu inna racja. Nie należałem do „paczki”. A we wszelkiej „paczce” — czy będzie światowa, polityczna, literacka — nabiera się perwersyjnej zdolności odkrywania w rozmowie, w oficjalnym przemówieniu, w noweli, w sonecie, wszystkiego tego, czegoby prostoduszny czytelnik nigdy nie dojrzał. Ileż razy zdarzyło mi się, gdym przeczytał z pewnym wzruszeniem powiastkę, zręcznie ułożoną przez jakiegoś wymownego i nieco staromodnego Akademika, że, kiedy miałem powiedzieć Blochowi lub pani de Guermantes: „Jakie to ładne!” oni, zanim jeszcze otworzyłem usta, wykrzykiwali, każde w odmiennym języku: „Jeżeli pan chce mieć chwilę uciechy, niech pan przeczyta nowelę Iksa. Idjotyzm ludzki nigdy nie zaszedł tak daleko”. Wzgarda Blocha pochodziła zwłaszcza stąd, że niektóre efekty stylu, mile zresztą, były trochę zwiędłe; wzgarda pani de Guermantes stąd, że powiastka dowodziła jakoby czegoś wręcz przeciwnego temu co autor chciał powiedzieć z racyj które księżna zręcznie wywodziła, ale o których nigdybym nie był pomyślał. Byłem równie zdziwiony, widząc ironię, jaką kryła pozorna uprzejmość Verdurinów dla Brichota, co słysząc w kilka dni później w Féterne Cambremerów, odpowiadających na moje entuzjastyczne pochwały Raspelière: „To nie możliwe żeby pan był szczerzy. Po tem wszystkim co oni tam zrobili!” Przyznali, co prawda, że serwis był ładny. Nie zauważyłem go, tak samo jak „skandalicznych” zazdrostek.

— Przynajmniej teraz, kiedy pan wróci do Balbec, będzie pan wiedział, co znaczy Balbec — rzekł ironicznie pan Verdurin.

Otóż właśnie te rzeczy, których dowiadywałem się od Brichota, interesowały mnie. Co się tyczy tego, co zwano jego dowcipem, inteligencją, były one ściśle te same które tak ceniono niegdyś w „paczce”. Mówił z tą samą drażniącą łatwością, ale słowa jego „nie brały” już, miały do pokonania wrogie milczenie lub niezyczliwe echa; zmienilo się nie to co on mówił, ale akustyka salonu i nastrój słuchaczy.

— Uwaga! — rzekła półgłosem pani Verdurin, wskazując Brichota. Ten, zachowawszy słuch ostrzejszy od wzroku, objął pryncypalkę szybkim spojrzeniem krótkowidza i filozofa. Jeżeli oczy jego się popsuly, w zamian oczy ducha ogarniały rzeczy szerzej. Widział, jak niewiele można oczekiwać od ludzkich przywiązań i pogodził się z tem. Bolało go to, zapewne. Zdarza się, że nawet ten, który pewnego wieczora, w kółku gdzie zazwyczaj był mile widziany, zgaduje, że się wydał albo pusty, albo ciężki, albo niezręczny, albo zbyt śmiały etc., wraca do domu zbolący. Często kwestja przekonań lub teoryj jest przyczyną że się wydał drugim głupi lub niemodny. Często wie doskonale, że owi drudzy nie dorosli do niego. Z łatwością mógłby zanalizować sofizmaty, przy pomocy których potępiono go milcząco, chce wybrać się z wizytą, napisać list; zmadrzawszy, nie czyni tego, czeka zaproszenia na następny tydzień. Bywa iż taka niełaska, zamiast skończyć się na jednym wieczorze, trwa całe miesiące. Wynikła z niestałości sądów świata, pomnaża ją jeszcze. Bo ten, kto wie, że pani X go lekceważy a czuje w zamian, że go cenią u pani Y, oświadcza że pani Y jest osobą o wiele wartościowszą i przenosi się do jej salonu. Zresztą, nie tu jest miejsce malować owych ludzi, wyższych nad życie światowe, ale niezdolnych się zrealizować poza niem, szczęśliwych że ich przyjmują, zgorzkniałych że ich nie doceniają, odkrywających co rok wady pani domu, którą okadzali, oraz geniusz tej, której nie doceniali, gotowi wrócić do swego pierwszego kultu, kiedy ucierpią od uciążliwości drugiego, braki zaś pierwszego ulegną prawu zapomnienia. Z tych krótkich stanów niełaski, można ocenić zgrzyotę, jaką sprawiła Brichotowi niełaska, o której wiedział że jest ostateczna. Wiedział, że pani Verdurin śmieje się czasami publicznie z niego, nawet z jego niedomagają, ale wiedząc jak niewiele trzeba się spodziewać od ludzkich przywiązań, pogodziwszy się z tem, uważał mimo to „pryncypalkę” za swoją najlepszą przyjaciółkę. Ale z rumieńca, jaki oblał twarz Akademika, pani Verdurin zrozumiała że słyszał i przyrzekła sobie być dlań uprzejma w ciągu wieczora. Nie mogłem się powstrzymać, aby jej nie zwrócić uwagi, jaka jest niedobra dla Saniette’a.

— Jakto nie dobra! Ależ on nas ubóstwia; pan nie wie, czem my jesteśmy dla niego. Męża drażni czasem jego głupota — i trzeba przyznać, że może drażnić — ale czemuż on się wtedy nie broni, zamiast przybierać minę zbitego psa? To nie jest szczerze. Nie lubię tego. To nie przeszkadza, że ja się zawsze staram uspokajać męża, bo gdyby się posunął

za daleko, Saniette mógłby poprostu przestać bywać, a tego bym nie chciała, bo powiem panu, że on już nie ma ani grosza, potrzebuje tych obiadów. A potem, ostatecznie, jeżeli go to obraża, niech nie wraca, to nie moja rzecz; kiedy ktoś potrzebuje drugich, stara się nie być tak głupim!

— Księstwo Aumale było długo w naszej rodzinie, zanim przeszło do domu Francji — tłumaczył p. de Charlus panu de Cambremer wobec olśnionego Morela, dla którego w istocie cała ta dysertacja była przeznaczona. Mieliśmy krok przed wszystkimi cudzoziemskimi książętami; mógłbym panu dać tego sto przykładów. Kiedy księżna de Croy chciała na pogrzebie *Monsieur* uklęknąć obok mojej prababki, ta zwróciła jej ostro uwagę, że nie ma prawa do poduszki, kazała zabrać poduszkę przez służbowego oficera i przedłożyła rzecz królowi, który polecił pani de Croy przeprosić panią de Guermantes w jej własnym domu. Kiedy książę Burgundji przybył do nas w otoczeniu marszałków trzymających podniesione laski, uzyskaliśmy u króla to że je kazał opuścić. Wiem, że nie bardzo przystoi mówić o cnotach swoich bliskich. Ale dobrze wiadome jest, że nasi byli zawsze na przedzie w godzinie niebezpieczeństwa. Nasze zawołanie wojenne, kiedyśmy porzucili zawołanie książąt Brabancji, było *Passavant*. Tak iż w sumie dość słuszne jest, że to prawo pierwszeństwa, któregośmy się domagali przez tyle wieków na wojnie, przypadło nam następnie na dworze. I to fakt, że nam je zawsze przyznawano. Zacytuję panu jeszcze jako dowód księżnę Badeńską. Kiedy się zapomniała do tego stopnia, że próbowała się spierać o miejsce z tą samą księżną de Guermantes, o której przed chwilą mówiłem, i korzystając z odruchu wahania, jaki może miała moja krewna, (mimo że nie było do tego powodu), pierwsza chciała wejść do króla, król krzyknął żywo: „Wejdz, wejdz, kuzynko; księżna Badeńska zbyt dobrze wie co ci jest powinna”. I tę rangę miała jako księżna de Guermantes, mimo że sama z siebie była dosyć wielkiego rodu, będąc przez matkę siostrzenicą królowej polskiej, królowej węgierskiej, elektora Palatynatu, księcia Savoie-Carignan i księcia Hanoweru, potem króla angielskiego.

— *Maecenas atavis edite regibus!* — rzekł Brichot, zwracając się do pana de Charlus, który lekkim skinieniem głowy odpowiedział na tę galanterję.

— Co pan powiada? — spytała pani Verdurin Brichota, wobec którego chciała naprawić niedawny wybryk.

— Mówiłem, niech mi Bóg odpuści, o dandysie, który był samą śmietanką arystokracji (pani Verdurin zmarszczyła brwi) za czasów Augusta (pani Verdurin, uspokojona odległością tej *śmietanki*, rozpogodziła się nieco); o przyjacielu Wirgiliusza i Horacego, którzy posuwali pochlebstwo do tego stopnia, aby mu w żywe oczy wysławiać jego parantele więcej niż arystokratyczne, królewskie, słowem mówiłem o Mecenasiu, szczerze bibliotecznym, przyjacielu Horacego, Wirgiliusza, Augusta. Pewien jestem, że p. de Charlus wie bardzo dobrze — i w każdym sensie — kto był Mecenasiem.

P. de Charlus zerkał wdzięcznie na panią Verdurin, bo słyszał jak się umawia na pojutrze z Morelem i bał się, że jego nie zaprosi. — Sądzę — rzekł — że Mecenasiem był czemś w rodzaju Verdurina starożytności.

Pani Verdurin ledwie zdołała powściągnąć uśmiech zadowolenia. Podeszła do Morela.

— Sympatyczny jest ten przyjaciel pańskich rodziców — rzekła. — Widać, że to człowiek wykształcony, dobrze wychowany. Nada się do naszej paczki. Gdzie on mieszka w Paryżu?

Morel zachował wyniosłe milczenie i zaproponował tylko partyjkę kart. Pani Verdurin przed tem żądała trochę skrzypców. Ku powszechnemu zdziwieniu, p. de Charlus, który nigdy nie mówił o swoich talentach, zaakompanjował Morelowi w najczystszy styl ostatnią część (niespokojną, nerwową, szumanowatą, ale bądź co bądź wcześniejszą od sonaty Francka) sonaty skrzypcowej Fauré'go. Zrozumiałem, że baron dałby Morelowi, cudownie uzdolnionemu co się tyczy tonu i techniki, właśnie to, czego mu brakło: kulturę i styl. Ale równocześnie dumalem z ciekawością nad tem, co w tym samym człowieku może kojarzyć skazę fizyczną z darami ducha. P. de Charlus nie był zbyt różny od swego brata, księcia de Guermantes. Nawet przed chwilą (co mu się zdarzało rzadko), posłużył się równie złą francuzczyzną co książę. Wyrzucając mi (zapewne w tym celu, abym ciepło mówił o Morelu wobec pani Verdurin), że nigdy do niego nie zachodzę, kiedy ja się tłumaczył iż czynię to przez delikatność, odparł: „Ależ skoro ja pana o to proszę, jedynie ja *mógłbym się formalizować*”. To mógłby powiedzieć książę de Guermantes.

Ostatecznie, p. de Charlus był tylko Guermantem. Ale wystarczyło, aby natura zwichnęła w nim system nerwowy, tak aby zamiast kobiety (jakby to czynił jego brat, książę Błażej) wolał wirgiliańskiego pasterza lub ucznia Platona, a natychmiast nieznaną księżciu de Guermantes a często kojarzące się z tem zboczeniem cechy uczyniły z pana de Charlus uroczego pianistę, malarza-amatora nie pozbawionego smaku, subtelnego *causeura*. Słyszając chyży, nerwowy, uroczy rytm, w jakim p. de Charlus grał szumanowski ustęp sonaty Fauré'go, któżby poznał, że ten styl ma swój odpowiednik — nie śmiem powiedzieć przyczynę — w czysto fizycznych właściwościach, w nerwowych skazach pana de Charlus. Później wytłumaczymy to słowo „skazy nerwowe” i powiemy dla jakich przyczyn, Grek z epoki Sokratesa, Rzymianin z czasów Augusta, mogli być tem, czem wiadomo że byli, pozostając ludźmi absolutnie normalnymi, nie zaś mężczyznami skobieconymi, jakich się widzi dzisiaj. Tak samo jak p. de Charlus miał rzetelne choć niedonoszone skłonności artystyczne, tak samo bardziej od księcia Błażeja kochał matkę, kochał żonę, i nawet po latach, kiedy mu o nich wspomniano, miał w oczach łzy, ale powierzchowne, niby pocenie się zbyt otyłego człowieka, którego czoło rosi się z lada powodu kroplami potu. Z tą różnicą, że tym ludziom mówi się: „Jak panu gorąco”, podczas gdy udajemy że nie widzimy łez tamtego. „My”, to znaczy świat; bo lud wzrusza się płaczem, tak jakby szloch był czemś poważniejszym od krwotoku. Smutek, w jaki baron popadł po śmierci żony, nie wykluczał — dzięki nawykowi kłamstwa — życia, nie będącego w zgodzie z tą żalobą. Później nawet baron posunął się do tej ohydy, aby dawać do zrozumienia, że w czasie pogrzebu zdołał spytać o nazwisko i adres małego ministranta, może to była prawda!

Po skończeniu utworu, pozwoliłem sobie zażądać Francka, co zdawało się sprawiać taki ból pani de Cambremer, że nie nalegałem. „Pan tego nie może lubić” — rzekła. Prosiła zamiast tego o *Fêtes Debussy'ego*, co wywołało od pierwszej nuty okrzyki: „Och! wspaniale, boskie!” Ale Morel spostrzegł się, że umie tylko pierwsze takty, i przez pustotę, bez najmniejszego zamiaru mistyfikacji, zaczął marsz Meyerbeera. Na nieszczęście, ponieważ zrobił to prawie bez przejścia i nie zapowiadając, wszyscy myśleli, że to jeszcze Debussy i dalej krzyczeli: „Wspaniale!” Oznajmiając iż autorem utworu był nie twórca *Pellasa* lecz autor *Roberta Djabła*, Morel zmroził nieco słuchaczy. Pani de Cambremer nie miała czasu odczuć tego osobiście, bo właśnie odkryła zeszyt Scarlattiego i rzuciła się na nie go z impetem histeryczki. „Och, niech pan to zagra, niech pan to weźmie, to boskie!” — krzyczała. A przecież to, co ona w swoim gorączkowym podnieceniu wybrała z owego długo pogardzanego, a od niedawna wyniesionego na szczyty autora, to był jeden z owych przeklętych kawałków, które tak często nie dały wam spać i które bezlitosna uczenica powtarza bez końca o piętro nad nami. Ale Morel miał dosyć muzyki, że zaś miał ochotę zagrać w karty, p. de Charlus, pragnąc wziąć udział w partii, zaproponował wista.

— Powiedział przed chwilą pryncypałowi, że on jest księciem — rzekł Ski do pani Verdurin; ale to nie prawda; to jest drobne mieszczaństwo, jacyś architekci.

— Chcę wiedzieć, co pan mówił o Mecenasie. To mnie bawi, no tak! — powtórzyła pani Verdurin Brichotowi, przez uprzejmość która go upoiła. Toteż, aby błysnąć przed pryncypalką i może przedemną, rzekł:

— Ależ, prawdę rzekłszy, proszę pani, Mecenas interesuje mnie zwłaszcza tem, że był pierwszym wybitnym apostołem owego chińskiego boga, który dziś liczy we Francji więcej wyznawców niż Brahma, niż sam Chrystus: bardzo potężnego boga Mam-Whas Kcieś.

Pani Verdurin nie poprzestawała już w takich wypadkach na utopieniu głowy w rękach. Rzuciła się z nagłością owych owadów zwanych jętkami na księżnę Szerbatow; jeżeli ta była niedaleko, pryncypalka czepiała się pachy księżnej, zatapiała w nią paznokcie, i kryła na jakiś czas głowę, jak dziecko grające w chowanego. Zasłoniona tym opiekuńczym parawanem, robiła wrażenie że się śmieje do łez, i mogła w ten sposób nie myśleć o niczem, jak ludzie, którzy modlą się nieco dłużej, mają tę roztropność aby utopić twarz w rękach. Pani Verdurin naśladowała ich słuchając kwartetów Beethovena, aby równocześnie dowieść, że je uważa za modlitwę i nie okazać że śpi.

— Mówię bardzo poważnie, proszę pani — rzekł Brichot. — Sądzę, że zbyt wielka jest dziś liczba ludzi, trawiących czas na patrzeniu w swój pępek, tak jakby tam było

centrum świata. Teoretycznie, nie mam nic do zarzucenia jakiejś *nirwanie*, zmierzającej do tego aby nas rozpuścić w wielkiej Wszystkości (która, jak Monachium i Oxford, znajduje się o wiele bliżej Paryża niż Asnieres lub Bois-Colombes), ale nie jest rzeczą ani dobrego Francuza ani nawet dobrego Europejczyka, dziś, kiedy Japończycy są może u wrót naszego Bizancjum, aby zsocjalizowani antymilitaryści poważnie dyskutowali kardynalne cnoty wolnego wiersza.

Pani Verdurin uznała, iż może puścić udręczone ramię księżnej i ukazała z powrotem twarz, udając że sobie ociera oczy i zaczerpnąwszy parę razy tchu. Ale Brichot chciał, abym i ja dostał swoją porcję, zapamiętawszy zaś z egzaminów doktorskich które umiał prowadzić jak nikt, że niczem się tak nie głaszcze młodzieży jak karcąc ją, przyznając jej ważność, zyskując u niej epitet wsteczniaka: „Nie chciałbym bluźnić bogom Młodości rzekł — rzucając na mnie owo przelotne spojrzenie, jakim mówca ukradkiem darzy na zgromadzeniu kogoś obecnego, którego nazwisko cytuje. — Nie chciałbym być potępiony jako heretyk i recydywista herezji w kapliczce malarmejskiej, gdzie nasz nowy przyjaciel, jak wszyscy jego rówieśnicy, musiał służyć do mszy izoretycznej, przynajmniej jako ministrant i okazać się zgniłkiem lub Różokrzyżowcem. Ale doprawdy, za dużo widzieliśmy tych intelektualistów uwielbiających sztukę przez wielkie S, którzy, kiedy im nie wystarczy alkoholizować się Zolą, robią sobie zastrzyki Verlaine’a. Popadłszy w eteromanję przez dewocję baudelairovską, nie byłiby już zdolni do męskiego wysiłku, jakiego ojczyzna może któregoś dnia zażądać, znieczuleni przez wielką newrozę literacką, w upalnej, wyczerpującej, ciężkiej od niezdrowych wyziewów atmosferze symbolizmu rodem z palarni opium”.

Niezdolny udać ani cienia zachwyty dla niedorzecznej i napstrzonej tyrady Brichota, odwróciłem się do Skiego i zapewnilem go, że się absolutnie myli co do rodziny pana de Charlus. Odpowiedział, że jest pewny tego co mówi, i dodał, że ja sam mówiłem, iż prawdziwe nazwisko barona jest Gandin, Le Gandin.

— Powiedziałem — odparłem — że pani de Cambremer jest siostrą inżyniera, pana Legrandin. Nigdy nie mówiłem z panem o panu de Charlus. Między nim a panią de Cambremer jest nie więcej pokrewieństwa niż między Wielkim Kondeuszem a Racinem.

— A! myślałem! — rzekł swobodnie Ski, tak samo nie tłumacząc się ze swego błędu, jak kilka godzin wprzód z omyłki przez którą omal nie spóźniliśmy się na pociąg.

— Czy pan ma zamiar długo zabawić nad morzem? — pytała pani Verdurin pana de Charlus, w którym przeczuwała „wiernego” i drżała aby nie wrócił zbyt wcześnie do Paryża.

— Mój Bóże, nigdy nie wiadomo — odparł nosowym i rozwlekłym tonem p. de Charlus. — Chciałbym zostać do końca sierpnia.

— Ma pan rację — odparła pani Verdurin; to moment pięknych burz.

— Prawdę mówiąc, nie toby mnie zdecydowało. Nadto zaniedbałem od jakiegoś czasu Archanioła Michała, mego patrona, i chciałbym mu to wynagrodzić, pozostając aż do jego święta, 29 września, w *Abbaye du Mont*.

— Bawią pana takie historie? — spytała pani Verdurin, która zdołałaby może uciścić swój zraniony antyklerykalizm, gdyby się nie zlekła że tak długa wycieczka może spowodować czterdziestoosmiodzinną dezercję skrzypka i barona.

— Pani cierpi może na okresową głuchotę — rzekł impertynencko p. de Charlus. — Mówiłem, że święty Michał jest jednym z moich chlubnych patronów. Poczem, uśmiechając się w błogiej ekstazie z oczami utkwionymi w dal, z głosem nabrzmiałym egzaltacją, więcej niż estetyczną, raczej religijną: — To takie piękne w momencie Podniesienia, kiedy Michał stoi koło ołtarza, w białej sukni, kołysząc złotą kadzielnicą, z taką obfitością kadzidel, że woń wzbija się aż do nieba...

— Można by się wybrać całą gromadką — podsunęła pani Verdurin, mimo swego wstrętu do sutanny.

— W tej chwili, od momentu Podniesienia — podjął p. de Charlus, który z innych przyczyn ale w ten sam sposób jak dobrzy mówcy w Izbie nie odpowiadał nigdy na przerywania i udawał że ich nie słyszy — byłoby czarujące słyszeć naszego młodego przyjaciela, wykonującego Palestrynę lub Air Bacha. Oszałały z radości, nasz zacny proboszcz także, i to jest największy hołd — przynajmniej największy hołd publiczny — jaki mógłbym

oddać memu świętemu patronowi. Co za zbudowanie dla wiernych! Pomówimy o tem zaraz z naszym młodym Fra Angelico smyczka, żołnierzem jak święty Michał.

Saniette, zaproszony na czwartego, oświadczył, że nie umie grać w wista. Zaczem Cottard, widząc że niewiele jest już czasu do pociągu, zasiadł czemprowadz do partyjki *écarté* z Morelem. Verdurin, wściekły, podszedł ze straszliwą miną do Saniette'a. „Więc pan wcale nie umie grać! — krzyknął, wściekły że stracił sposobność zagrania w wista, a rad, że ma okazję zelżenia ex-archiwisty. Ów, steroryzowany, przybrał dowcipną minę: „Owszem, na fortepianie” — odparł.

Cottard i Morel siedli naprzeciw siebie. „Pan święci — rzekł Cottard. — Gdybyśmy się zbliżyli trochę do stołu gry — rzekł do pana de Cambremer p. de Charlus, zaniepokojony widokiem skrzypka z Cottardem. — To jest conajmniej równie interesujące jak te kwestje etykiety, które w naszej epoce nie wiele już znaczą. Jedyni królowie, którzy nam zostali, we Francji przynajmniej, to królowie karciani i zdaje mi się że się pchają garściami do ręki młodego wirtuoza” — dodał baron przez podziw dla Morela, rozciągający się na jego sposób grania w karty; przyczem zarówno chciał mu pochlebić jak usprawiedliwić ruch, jakim się pochylił do ramienia skrzypka.

— *Bzedzinam* — rzekł udając cudzoziemski akcent Cottard, którego dzieci parsknęły śmiechem tak jak czynili studenci i pierwszy asystent, kiedy nawet przy łóżku ciężko chorego, profesor puszczał, z niewzruszoną maską epileptyka, którąś z uświęconych faccyj.

— Nie bardzo wiem co zagrać — rzekł Morel radząc się pana de Cambremer.

— Co pan chce, będzie pan pobity na wszelki sposób; tak czy tak, to jest *egal*.

— Egal... Ingalli? — rzekł doktor, śląc w stronę pana de Cambremer usilne i życzliwe spojrzenie. — To była co się zowie prawdziwa *diva*, to było marzenie, Carmen taka jakiej się już nie zobaczy. To była wymarzona kobieta do tej roli.

Margrabia wstał z owem lekceważącym chamstwem ludzi dobrze urodzonych, nie rozumiejących że obrażają pana domu kwestjonując jego gości i szukających w angielskim zwyczaju pogardliwego zwrotu: „Kto to jest ten jegomość, który gra w karty, co on robi w życiu, co *sprzedaje*? Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia, by się nie zadawać z byle kim. Otóż nie słyszałem jego nazwiska, kiedy mi pan uczynił ten zaszczyt, aby mnie przedstawić”.

Gdyby pan Verdurin, biorąc asumpt z ostatnich słów, w istocie przedstawił pana de Cambremer swoim gościom, ów byłby to mu bardzo wziął za złe. Ale wiedząc że było przeciwnie, pozwalał sobie kokietować miną dobroduszną i skromną bez ryzyka. Duma, jaką Verdurin czerpał w swojej zażyłości z Cottardem, wzrosła jeszcze od czasu jak doktor został znakomitością; ale nie wyrażała się już w dawnej naiwnej formie. Kiedy Cottard był prawie nieznany, wówczas, jeśli ktoś wspomniał panu Verdurin o newralgjach jego żony, Verdurin odpowiadał z naiwną próżnością ludzi, którzy sądzą, że wszystko co ich dotyczy jest znakomite i że cały świat zna nazwisko metra śpiewu ich córki. „Nic się nie da zrobić! Gdyby miała jakiegos podrzędnego lekarzynę, możnaby próbować innej kuracji; ale kiedy ten lekarz nazywa się Cottard (wymawiał to nazwisko tak, jakby to był Bouchard lub Charcot), trzeba poprostu cierpieć”. Obecnie, pewien że p. de Cambremer z pewnością słyszał o sławnym profesorsze Cottard, p. Verdurin użył odwrotnej taktyki, przybrał skromną minę: „To nasz lekarz domowy, zacny człowiek, którego uwielbiamy i który dałby się porąbać za nas; to nie lekarz, to przyjaciel; nie sędzę aby go pan znał lub aby jego nazwisko coś panu mówiło; w każdym razie, dla nas, to nazwisko bardzo zacnego człowieka, bardzo kochanego przyjaciela: Cottard”.

Nazwisko to, szepnięte ze skromną miną, zmyliło pana de Cambremer, który myślał że chodzi o kogo innego. „Cottard? pan nie mówi o profesorsze Cottard?” Właśnie rozległ się głos rzeczzonego profesora, który, zakłopotany zrzuceniem, powiadał trzymając karty: „Tędy go wiedli”.

— A tak, właśnie, jest profesorem — rzekł pan Verdurin.

— Jakto! profesor Cottard! Pan się nie myli? Pan jest pewny, że to ten sam? ten co mieszka przy ulicy du Bac!

— Tak, właśnie, du Bac, 43. Pan go zna?

— Ależ cały świat zna profesora Cottard. To sława! To tak jakby mnie pan spytał, czy znam Bouffe de Saint-Blaise albo Courtois-Suffit. Zauważyłem, przysłuchując się, że to jest nie byle kto, i dlatego ośmieliłem się pana spytać.

— Więc co to trzeba grać, atu? — pytał Cottard. Potem nagle, z pospolitością, która byłaby drażniąca nawet w heroicznych okolicznościach gdy żołnierz chce dać rubaszny wyraz pogardzie śmierci, ale która stawała się dubeltowo głupia w niewinnej grze w karty, Cottard, decydując się zagrać atu, przybrał ponurą minę straceńca i głosem człowieka ryzykującego gardło, rzucił kartę, tak jakby chodziło o życie, wołając: „Raz kozie śmierć!” Nie tę kartę trzeba było zagrać, ale miał choć pociechę.

Na środku salonu, w szerokim fotelu, pani Cottard, ulegając nieodpartemu działaniu obiadu, poddała się po daremnych wysiłkach szerokiemu i lekkiemu snowi, który ją ogarniał. Daremnie prostowała się chwilami aby się uśmiechnąć, czy nibyto drwiąc z samej siebie, czy w obawie że mogłaby zostawić bez odpowiedzi jakieś zwrócone do niej miłe słówko; — mimo tej walki stawała się pastwą nieubłaganej i rozkosznej choroby. Jeżeli co mogło ją zbudzić na sekundę, to nie hałas, ale spojrzenie (przez czułość widziała je nawet z zamkniętymi oczami, przewidywała je, bo ta sama scena powtarzała się co wieczór i nawiedzała jej sen, jak godzina o której trzeba będzie wstać) — spojrzenie, jakim profesor ukazywał śpiącą żonę obecnym. Z początku poprzestawał na tem aby na nią popatrzeć i uśmiechnąć się, bo o ile jako lekarz potępiał poobiednią drzemkę (przynajmniej podawał tę naukową rację, aby się pogniewać w końcu; ale nie jest pewne, czy racja ta była rozstrzygająca, tak dalece poglądy profesora były na tym punkcie zmienne), jako wszechpotężny i przekorny mąż lubił sobie drwić z żony, budzić ją zlekka tak aby znów usnęła i aby mieć przyjemność budzić ją na nowo.

Teraz pani Cottard spała całkiem. „Hop hop! Leontyno, tyś ucieła śpika! — krzyczał profesor. — Słucham, co mówi pani Swann, mój drogi — odpowiedziała słabo pani Cottard, popadając w letarg. — To absurd! wykrzyknął Cottard; za chwilę będzie w nas wmawiać, że ona wcale nie spała. To jak pacjenci, co przychodzą na konsultację i mówię że nie śpią nigdy. — Może sobie to wyobrażają, rzekł śmiejąc się p. de Cambremer.

Ale doktor równie lubił sprzeciwiać się jak droczyć, a zwłaszcza nie uznawał, aby profan odzywał się w sprawach medycyny. — Nie można sobie wyobrażać, że się nie śpi, orzekł dogmatycznym tonem.

— A! — odparł kłaniając się z szacunkiem margrabia, tak jakby to niegdyś zrobił Cottard.

— Widać zaraz, że pan nigdy nie przepisywał, jak ja, do dwóch gramów trionalu, nie mogąc wywołać śpiączki.

— W istocie, w istocie — odparł margrabia śmiejąc się zadowolony z siebie; nigdy nie zażywałem trionalu, ani żadnej z tych mikstur, które rychło przestają działać, ale niszczą człowiekowi żołądek. Kiedy się, jak ja, polowało cały dzień w lasach Chantepie, upewniam pana, że nie potrzeba trionalu żeby zasnąć.

— Tak mówią ignoranci — odparł profesor. — Trional podnosi czasem w wybitny sposób tonus nerwowy. Mówi pan o trionalu; ale czy pan choć wie, co to jest?

— Ależ... słyszałem, że to jest lekarstwo na sen.

— Nie odpowiada pan na pytanie — podjął magistralnym tonem profesor, który trzy razy na tydzień zasiadał w komisji egzaminacyjnej. Nie pytam, czy to działa na sen, ale co to jest. Może mi pan powiedzieć, ile zawiera części amylu i etylu?

— Nie — odparł pan de Cambremer zakłopotany. — Wolę dobry kieliszek koniaku albo nawet *porto* 345.

— Które są dziesięć razy bardziej toksyczne — przerwał profesor.

— Co się tyczy trionalu — bąknął pan de Cambremer — żona moja zaabonowana jest na to wszystko, lepiej niech pan pomówi z żoną.

— Która wie o tem mniej więcej tyle co pan. W każdym razie, jeżeli pańska żona bierze trional poto żeby zasnąć, widzi pan, że moja tego nie potrzebuje. No, Leontyno, porusz się, zdrętwiejesz: powiedz, czy ja spiąm po obiedzie? Co będziesz robiła po sześćdziesiątce, jeżeli już teraz śpisz jak stara! Utyjesz, upośledzasz sobie krążenie krwi. Nie słyszy nawet!

— To nie dobre dla zdrowia takie drzemki po obiedzie, prawda doktorze? — rzekł p. de Cambremer, aby się zrehabilitować w oczach profesora. — Zjadłszy porządnie, trzeba by mieć trochę ruchu.

— Facecje! — odparł doktor. — Zbadano równą ilość pożywienia z żołądka psa który leżał spokojnie i z żołądka psa który biegał; u pierwszego trawienie było dalej posunięte.

— Więc to sen upośledza trawienie?

— To zależy, czy chodzi o trawienie przełykowe, żołądkowe, kiszkowe; nie ma celu dawać panu wyjaśnień, których by pan nie zrozumiał, skoro pan nie studjował medycyny. No, Leontyno, naprzód m...arsz! czas jechać.

To nie była prawda, bo doktor miał jeszcze kończyć partyjkę, ale spodziewał się przeciąć w ten sposób tem brutalniej sen niemej, do której zwracał najuczęńsze napomnienia, nie mogąc uzyskać odpowiedzi. Czy że wola walki ze snem przetrwała u pani Cottard nawet we śnie, czy że fotel nie dawał głowie oparcia, głowa jej wahała się mechanicznie z lewej strony na prawą i z dołu do góry, w próżni, niby bezwładny przedmiot; i kiwając tak głową, pani Cottard robiła wrażenie to że słucha muzyki, to że weszła w ostatnią fazę agonji. Tam gdzie najgwałtowniejsze napomnienia męża zawiodły, osiągnęło skutek poczucie własnego absurdu:

— Kąpiel ma dobrą temperaturę, ale pióra w słowniku... — wykrzyknęła, prostując się. — Och, Boże! jaka ja głupia. Co ja mówię, myślałam o swoim kapeluszu, musiałam powiedzieć głupstwo, jeszcze trochę a byłabym zasnęła, to ten nieszczęsny ogień na kominku!

Wszyscy zaczęli się śmiać, bo nie było ognia.

## *Sodoma i Gomora*

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM TRZECI

## ROZDZIAŁ II

(*Ciąg dalszy*)

— Żartujecie sobie ze mnie — rzekła sama się śmiejąc pani Cottard, która z lekkością magnetyzera i zręcznością kobiety poprawiającej fryzurę starła z czoła ostatnie śladu snu; — muszę przeprosić unieżenie kochaną panią Verdurin i dowiedzieć się od niej prawdy.

Ale uśmiech jej posmutniał, bo profesor, który wiedział iż żona stara mu się podobać i drży że się jej to nie uda, krzyknął:

— Spójrz w lustro, jesteś czerwona jakbyś miała ognipiór, wyglądasz jak stara chłopka.

— Wiecie, że nasz profesor jest uroczy — rzekła pani Verdurin; — ma taką przemiłą figlarną dobroduszość. A przytem, on wrócił mego męża z tamtego świata, kiedy cały fakultet już go skazał. Trzy noce spędził przy nim, nie kładąc się. Toteż dla mnie, wiecie państwo, Cottard — dodała poważnie, prawie groźnie, podnosząc rękę ku dwóm okolonym białemi kosmykami półkulom swoich muzykalnych skroni, i tak jakbyśmy się chcieli targnąć na doktora — Cottard, to świętość. Mógłby zażądać czego by chciał. Zresztą, ja go nie nazywam doktor Cottard: ja go nazywam doktor Bóg! I jeszcze, mówiąc tak, spotwarzam go, bo ten bóg naprawia w zakresie możliwości cząstkę nieszczęść, za które odpowiedzialny jest tamten.

— Graj pan atu — rzekł do Morela z wniebowziętą miną p. de Charlus.

— Dla wymacania — rzekł skrzypek.

— Trzeba było najpierw zapowiedzieć króla — rzekł p. de Charlus; — roztargniony pan jest, ale świetnie pan gra!

— Mam króla — rzekł Morel.

— Bardzo przystojny król — odparł profesor.

— Co to jest za historia z temi tyczkami — spytała pani Verdurin pana de Cambremer pokazując wspinałą tarczę wyrzeźbioną nad kominkiem. Czy to pański *herb* — dodała z ironiczną wzdrgnącą się wargami.

— Nie, to nie nasz — odparł pan de Cambremer. My mamy pole złote z trzema pasami czerwonych blanków każdy o pięciu zębach ze złotą koniczą. Nie, to jest herb Arrachepelów, którzy nie byli z naszego pnia, ale po których odziedziczyliśmy ten dom, i nigdy nikt z naszej linii nie chciał tu nic zmieniać. Arrachepel (dawniej Pelvilain, jak powiadają) mieli złote pole z pięcioma zastrzonymi czerwonymi palami. Kiedy się skojarzyli z Féterne'ami, tarcza ich zmieniła się ale pozostała pokratkowana w dwadzieścia podwójnych krzyżyków z gronostajowem skrzydłem po prawej.

— Masz kiedyś chciała — szepnęła z cicha pani de Cambremer.

— Moja prababka była z domu d'Arrachepel albo de Rachepele, jak pani woli, bo istnieją oba nazwiska w starych dokumentach — ciągnął p. de Cambremer, czerwieniąc się żywo, bo dopiero wówczas powziął myśl, którą przypisała mu żona, i zląkł się, aby pani Verdurin nie wzięła do siebie słów, które bynajmniej w nią nie godziły. — Historia twierdzi, że w jedenastym wieku pierwszy Arrachepel, Macé, zwany Pelvilain, objawił przy obleganiu miast szczególną zręczność w wyrywaniu pali. Stąd przydomek *Arrachepel*, pod jakim go uszlachcono, oraz pale, które tu pani widzi, przetrwały przez wieki w herbie. Chodzi o ostrokoły, które, dla umocnienia fortyfikacji, wsadzano, wtykano (przepraszam za wyrażenie) w ziemię, spajając je z sobą. Dobrze je pani nazwała: tyczki; w każdym razie nie miały nic wspólnego z pływającymi kijami dobrego Lafontaine'a. Bo wierzono, że one czynią miejsce niezdołanym. Oczywiście, to budzi uśmiech wobec dzisiejszej artylerji. Ale trzeba pamiętać, że chodzi o wiek jedenasty.

— Tak, to nie grzeszy aktualnością — rzekła pani Verdurin — ale ta wieżyczka ma charakter.

— Ma pan — rzekł Cottard — łajdackie szczęście. Czy pan wie, czemu król karowy jest uwolniony od wojska?



— Chciałbym być na jego miejscu — rzekł Morel, którego nudziła służba wojskowa.  
— A, zły patryjota — wykrzyknął Charlus, który nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczyptać skrzyłka w ucho.

— Nie, nie wie pan, czemu król karowy jest zwolniony — podjął Cottard, który nie łatwo zrezygnował ze swoich konceptów: dlatego, że ma jedno oko.

— Ma pan do czynienia z tęgim graczem, doktorze — rzekł p. de Cambremer, aby okazać że wie kim profesor jest.

— Ten młody człowiek jest zdumiewający — przerwał naiwnie p. de Charlus, wskazując Morela. Gra jak młody bóg.

Ta uwaga nie spodobała się zbyt doktorowi, który odparł:

— *Vederemo*. Trafi kosa na kamień. *Chi lo sa?*

— Dama, as — oznajmił tryumfalnie Morel, któremu los sprzyjał.

Doktor pochylał głowę, jakby nie mogąc zaprzeczyć temu szczęściu, i wyznał olśniony:

— To piękne.

— Byliśmy bardzo radzi, żeśmy spotkali tutaj pana de Charlus — rzekła pani de Cambremer do pani Verdurin.

— Pani go nie znała? Jest dosyć przyjemny, oryginalny jest, ma coś z *epoki* (była-by w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło powiedzieć z której) odparła pani Verdurin z zadowolonym uśmiechem amatorki, sędziego i gospodyni domu.

Pani de Cambremer spytała mnie, czy przyjadę z Robertem do Féterne. Mimowoli krzyknąłem z zachwyty, widząc księżyc niby pomarańczowy lampion nad sklepieniem dębów ciągnącym się od zamku.

— To jeszcze nic; za chwilę, kiedy księżyc będzie wyżej i oświetli dolinę, to będzie tysiąc razy ładniejsze. Nie macie czegoś podobnego w Féterne! — rzekła pani Verdurin lekceważąco do pani de Cambremer, która nie wiedziała co odpowiedzieć, nie chcąc deprecjonować własnej posiadłości, zwłaszcza wobec lokatorów.

— Czy pani zostaje jeszcze jakiś czas w tych stronach? — spytał p. de Cambremer pani Cottard, co mogło uchodzić za mglisty zamiar zaproszenia jej a uwalniało na razie od większej precyzji.

— Och, z pewnością, proszę pana; bardzo mi dla dzieci zależy na tym corocznym exodusie. Niech kto mówi co chce, dzieci potrzebują powietrza. Fakultet chciał mnie wysłać do Vichy, ale tam jest za duszno; pomyślę o swoim żołądku wówczas kiedy te chłopaki podrosną. A potem profesor z temi egzaminami, wciąż jak na uwięzi, a upały męczą go bardzo. Uważam, że człowiek potrzebuje rozprężyć ramiona, kiedy tak jak on cały rok spędził na wyłomie. W każdym razie, zostaniemy jeszcze dobry miesiąc.

— Och, w takim razie spotkamy się jeszcze.

— Zresztą ja jestem tem bardziej zmuszona zostać tutaj, bo mąż planuje wycieczkę do Sabaudji i dopiero za dwa tygodnie znajdzie się na posterunku.

— Ja jeszcze bardziej lubię stronę doliny niż stronę morza — podjęła pani Verdurin.

— Będziecie państwo mieli wspaniały czas na powrót.

— Trzebaby nawet zajrzeć, czy powozy są zaprzężone, w razie gdyby pan koniecznie chciał dziś wracać do Balbec — rzekł do mnie pan Verdurin — bo co do mnie, nie widzę konieczności. Odwiozłoby się pana jutro rano. Będzie z pewnością ładnie. Drogi są wspaniałe.

Powiedziałem, że to niemożliwe.

— W każdym razie, jeszcze macie czas — nadmieniła pryncypałka. Zostaw ich w spokoju, jest masa czasu. Dużo im z tego przyjdzie, że przyjadą o godzinę wcześniej na stację! Lepiej im tutaj. I pan, mój młody Mozarcie — rzekła do Morela, nie śmiejąc się zwracać wprost do pana de Charlus — nie chce pan zostać? Mamy piękne pokoje z widokiem na morze.

— Ale on nie może — odparł p. de Charlus za pochłoniętego grą Morela, który nie słyszał. Ma przepustkę tylko do północy. Musi wracać do łóżeczka, jak dzidzius bardzo posłuszny, bardzo grzeczny, dodał życzliwym, zmanierowanym, nalegającym głosem, tak jakby znajdował jakąś sadystyczną rozkosz w tem niewinnem porównaniu, a także w tem aby muskać w przelocie głosem coś co tyczyło Morela, dotykać go, jeżeli nie ręką, to słowami, które zdawały się go obmacywać.

Z kazania, które mi zaaplikował Brichot, p. de Cambremer wywnioskował, że jestem stronnikiem Dreyfusa. Ponieważ sam był do ostatnich granic „anty”, zaczął mi — przez kurtuazję dla wroga — wychwalać jakiegoś pułkownika żyda, który był zawsze bardzo sprawiedliwy dla kuzyna państwa de Chevrigny i dał mu zasłużony awans. „A mój kuzyn wyznawał poglądy absolutnie przeciwne — rzekł p. de Cambremer, prześlizgując się nad tem, co to były za poglądy, ale uczulem że muszą być równie stare i tępe jak jego fizys, poglądy, które parę rodzin w pewnych małych miasteczkach musi przechowywać od bardzo dawna.

— I wie pan, doprawdy, mnie się to wydaje bardzo piękne — zakończył p. de Cambremer.

P. de Cambremer nie używał słowa „piękne” w znaczeniu estetycznym, któreby dla jego matki lub żony oznaczało dzieła różne, ale zawsze dzieła sztuki. Raczej posługiwał się tym przymiotnikiem, winszując np. osobie wątlej, która trochę przytyła: „Jakto, przybyło panu w dwa miesiące trzy kilo! Wie pan, że to bardzo pięknie!”

Podano chłodniki. Pani Verdurin zapraszała panów, aby każdy sam wybrał napój, jaki mu odpowiada. P. de Charlus podszedł aby wypić swoją szklankę, poczem szybko wrócił do stołu gry i już się nie ruszył. Pani Verdurin spytała: „Czy pan kosztował mojej oranżady?” Wówczas Charlus z wdzięcznym uśmiechem, krystalicznym głosem (jaki miewał rzadko), z tysiącem minek i krygowań się, odparł: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową jak sądzę, to rozkoszne.” Osobliwe jest, że pewna grupa tajemnych aktów uzewnętrznia się w sposobie wysłowienia lub gestykulacji, w których się zdradza. Jeżeli ktoś wierzy lub nie wierzy w niepokalane poczucie, w niewinność Dreyfusa lub w wielość światów i chce zamilczyć o tem, nie znajdzie się w jego głosie ani chodzie nic, coby zdradzało jego myśl. Ale, słysząc pana de Charlus jak mówi dyszkantem, z tym uśmiechem i z tym gestem: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, można było sobie powiedzieć: „O, ten leci na mężczyzn”, z tą samą pewnością, jaka każe sędziemu skazać zbrodniarza mimo iż się nie przyznał, lekarzowi wydać wyrok na kandydata do paraliżu, nie znającego może swojej choroby, która wywołała taki a taki błąd w wymowie, pozwalający wnioskować, że do trzech lat pacjent nie będzie żył. Ludzie, którzy ze sposobu powiedzenia: „Nie, wolałem jej sąsiadkę, truskawkową”, stawiają diagnozę miłości t. zw. *przeciwnej naturze*, nie potrzebują może aż tak głębokiej wiedzy. Ale—bo tutaj związek między oznaką rozpoznawczą a sekretem jest prostszy. Nie określając sobie tego jasno, czujemy, że odpowiada nam słodka i uśmiechnięta dama, która wydaje się nam zmanierowana, bo podaje się za mężczyznę, a nie przywykliśmy, aby mężczyzna tak się mizdrzył. I może szlachetniej jest myśleć, że od wieków pewna ilość anielskich kobiet została objęta przez pomyłkę płcią męską; i wygnane w tę sferę trzepocą napróżno skrzydłami ku mężczyznom budząc w nich fizyczną odrazę, umieją urządzić salon, komponują „wnętrza”.

P. de Charlus nie troszczył się o to że pani Verdurin stoi: siedział w fotelu, aby być bliżej Morela.

— Niech pan powie — rzekła pani Verdurin do barona — czy to nie jest zbrodnia, że ta istota, która mogłaby nas czarować swojemi skrzypcami, siedzi tutaj przy *écarté*. Kiedy się tak gra na skrzypcach jak on!

— I w karty gra dobrze, wszystko robi dobrze, jest taki inteligentny — rzekł Charlus, śledząc równocześnie partję, aby móc radzić Morelowi.

Nie była to zresztą jedyna racja, że baron nie wstał dla pani Verdurin. W osobliwym amalgamacie, jaki sobie stworzył ze swoich pojęć socjalnych równocześnie wielkiego pana i miłośnika sztuki, baron, zamiast być grzeczny w ten sam sposób w jaki byłby grzeczny człowiek z jego świata, komponował sobie w duchu Saint-Simona rodzaj żywych obrazów; i w tej chwili grał dla siebie rolę marszałka d’Uxelles, który go interesował również innemi rysami, a o którym powiedziane jest, że był tak pyszny, iż nie wstawał z krzesła — niby przez lenistwo — bodaj dla największych figur na dworze.

— Powiedz, baronie — rzekła pani Verdurin, która zaczynała się poufalić — czy nie masz w swoim świecie jakiego starego zrujnowanego szlachcica, który mógłby mi się zdać na odźwiernego?

— Ależ owszem... ależ owszem — odparł p. de Charlus uśmiechając się dobrodusznie — ale nie radziłbym go pani.

— Czemu?

— Bałbym się, że eleganccy goście utkwiliby w jego izdebce i nie zaszliby dalej.

Była to ich pierwsza utarczka. Pani Verdurin zaledwie zwróciła na to uwagę. Miały, niestety, nastąpić inne w Paryżu.

Charlus wciąż nie wstawał z krzesła. Mimowoli uśmiechał się nieznacznie, widząc jak dalece uległość pani Verdurin — tak łatwo uzyskana — potwierdza jego ulubione maksymy o uroku arystokracji i o nikczemności mieszczaństwa. Pryncypałka nie wydawała się wcale zdziwiona formami barona i jeżeli go opuściła, to jedynie dlatego, że z niepokojem ujrzała iż p. de Cambremer znów mnie zagarnął. Ale przedtem chciała wysświetlić stosunki pana de Charlus z hrabiną Molé.

— Mówił pan, że pan zna panią de Molé. Czy pan bywa u niej? — spytała, dając tym słowom „bywać” znaczenie: mieć prawo bywania u niej, być upoważnionym do odwiedzania jej.

P. de Charlus odpowiedział z akcentem lekceważenia, z afektacją ścisłości i śpiewnym tonem: „Ależ czasem.” To „czasem” obudziło wątpliwości pani Verdurin, która spytała:

— Czy pan spotkał tam kiedy księcia de Guermantes?

— A, nie przypominam sobie.

— O — rzekła pani Verdurin — pan nie zna księcia de Guermantes?

— Jakżebym go miał nie znać — odparł pan de Charlus z uśmiechem, który zadrgał mu na ustach. Uśmiech ten był ironiczny, ale ponieważ baron bał się, że nim odsłoni złoty ząb, utopił uśmiech w fali swoich warg, tak iż linia, która stąd wypadła, wyraziła życzliwość.

— Czemu pan mówi: „jakżebym go miał nie znać?”

— No bo to jest mój brat — rzekł niedbale pan de Charlus, zostawiając panią Verdurin pogrążoną w zdumieniu i niepewności, czy gość sobie z niej kpi, czy też jest nieprawem dzieckiem lub z innego łoża. Myśl, że brat księcia de Guermantes mógłby się nazywać baron de Charlus, nie powstała w jej głowie. Zwróciła się do mnie:

— Słyszałam przed chwilą, że p. de Cambremer zaprasza pana na obiad. Mnie, pojmuję pan, mnie to jest obojętne. Ale w pańskim interesie mam nadzieję, że pan nie pojedzie. Po pierwsze, roi się u nich od nudziarzy. Och, jeżeli pan lubi towarzystwo prowincjonalnych hrabiów i margrabiów których nikt nie zna, znajdzie pan ich tam dosyta.

— Sądzę, że będę musiał się wybrać raz czy dwa. Nie jestem zresztą bardzo wolny, bo mam młodą kuzynkę, której nie chcę zostawiać samej (uważałem, że to rzekome pokrewieństwo ułatwi mi bywanie z Albertyną). Ale co się tyczy państwa de Cambremer, ponieważ już im ją przedstawiłem...

— Zrobi pan co pan zechce. Ja mogę panu powiedzieć tyle: to bardzo niezdrowe miejsce; kiedy pan złapie katar płuc albo porządny reumatyzm, dużo pan na tem wygra?

— Ale podobno miejscowość jest bardzo piękna?

— Thiiii... Jak ktoś uważa... Ja wyznaję szczerze, że sto razy wolę widok stąd na tę dolinę. Zresztą, choćby nam dopłacono, nie bylibyśmy wzięli tamtego domu, wiatry od morza fatalne są dla męża. Jeżeli pańska kuzynka jest bodaj trochę nerwowa... Ale zresztą pan jest nerwowy, zdaje mi się... miewa pan duszności... Ano cóż, zobaczy pan. Niech pan tam jedzie raz, nie będzie pan spał przez tydzień, ale to nie nasza rzecz.

I nie myśląc o tem, że to nowe zdanie klóci się z poprzednimi, dodała:

— Jeżeli to pana bawi obejrzeć dom, który jest niebrzydki — ładny, toby było za wiele powiedziane, ale ostatecznie ciekawy jest ze swoją fosą, ze starym mostem zwodzonym — ponieważ trzeba mi będzie się poświęcić i wybrać się tam raz na obiad, więc dobrze, niech się pan też wybierze tego dnia, postaram się ściągnąć całe moje kółko, wówczas będzie tam miło. Pojutrze jedziemy do Harambouville powozami. Droga wspaniała, jest tam rozkoszny jabłecznik. Niech pan jedzie z nami. Brichot, pan także. I ty także, Ski. To jest wycieczka, którą zresztą mąż planował oddawna. Nie bardzo wiem kogo on zaprosi. Panie de Charlus, czy pan należy do cechu?

Baron, który nie słyszał ostatnich zdań i nie wiedział że była mowa o wycieczce do Harambouville, podskoczył na krześle.

— Dziwne pytanie — mruknął drwiącym tonem, którym pani Verdurin uczuła się urażona.

— Zresztą, rzekła, nim przyjdzie czas na obiad u Cambremerów, czemuż by pan nie przywiózł tutaj swojej kuzynki? Czy ona lubi konwersację, ludzi inteligentnych? Czy jest

miła? Och, w takim razie bardzo dobrze. Niech pan przyjedzie z nią. Nie tylko jedni Cambremer są na świecie. Rozumiem, że oni rwą się do tego aby ją zaprosić, ci ludzie nie mogą ściągnąć do siebie nikogo. Tutaj będzie miała dobre powietrze, zawsze spotka ludzi inteligentnych. W każdym razie, liczę, że pan nie skrewi w przyszłą środę. Słyszałam, że pan ma podwieczorek w Rivebelle ze swoją kuzynką, z panem de Charlus i nie wiem już z kim. Niech się pan postara przewieść ich wszystkich tutaj; to byłoby milutkie taki kulig. Komunikacja świetna, drogi czarujące; w potrzebie posłałabym po was. Nie wiem zresztą, co pana może ciągnąć do Rivebelle: roi się od komarów. Wierzy pan może w „placek normandzki?” Mój kucharz robi go grubo lepiej. Poczęstuję pana prawdziwym plackiem normandzkim — prawdziwym — i kruchem ciastem także: będzie pan palce lizał. Och, jeżeli panu zależy na gneciuchach, jakie podają w Rivebelle, tego ja panu nie dam, nie zwykłam truć swoich gości, drogi panie, a nawet gdybym chciała, kucharz nie zgodziłby się robić tego świństwa, raczej podziękowałby za służbę. Tamtejsze placuszki, nie wiadomo z czego to robione. Znam biedną dziewczynę, która dostała z tego zapalenia otrzewnej i poszła!... w trzy dni. Miała ledwie siedemnaście lat. Co za cios dla jej biednej matki — dodała pani Verdurin z melancholią kryjącą się pod półkulami jej skroni, narbrzmiałych doświadczeniem i boleścią. Ale ostatecznie, niech pan jedzie na podwieczorek do Rivebelle, jeżeli pan ma ochotę być odartym ze skóry i wyrzucać pieniądze przez okno. Tylko, proszę pana — powierzam panu tę misję skoro wybije szósta, przywiezie mi pan całą kompanię tutaj; niech pan nie pozwoli żeby każdy wracał do siebie luzem. Może pan przywieść kogo pan zechce. Nie powiedziałabym tego każdemu. Ale ja jestem pewna, że pańscy przyjaciele są sympatyczni: widzę odrazu, że my się rozumiemy. Poza naszą paczką, będą właśnie we środę bardzo przyjemni ludzie. Nie zna pan młodej de Longpont. Jest czarująca i pełna dowcipu, ani trochę nie snobka; zobaczy pan, że się panu bardzo spodoba. I ona także ma sprowadzić całą gromadę przyjaciół — dodała pani Verdurin, aby dowieść że to jest przyjęte i aby mnie zachęcić przykładem. Pokaże się, kto będzie miał więcej wpływu i kto mi sprowadzi więcej ludzi, Baśka Longpont czy pan. I zdaje mi się, że mają także przywieźć Bergotte’a, dodała niepewnie, ile że ten udział „sławy” był mało prawdopodobny wobec notatki, jaka się rano ukazała w dziennikach, że stan zdrowia wielkiego pisarza budzi największe obawy. Słowem, zobaczy pan, że to będzie jedna z najudańszych śród: nie chcę mieć nudnych kobiet. Zresztą, niech pan nie sądzi wedle dzisiejszej środy, była zupełnie chybiona. Niech pan nie zaprzecza, nie mógł się pan nudzić bardziej odemnie, ja sama uważałam, że to było rozpaczliwe. Ale nie zawsze będzie tak jak dziś, wie pan. Nie mówię już o Cambremerach, którzy są niemożliwi, ale znałam ludzi światowych, którzy uchodzili za przyjemnych: i niech mi pan wierzy, przy mojej paczce, to nie istniało poprostu! Słyszałam, jak pan raz mówił, że pan ma Swanna za człowieka inteligentnego. Po pierwsze, uważam że to grubo przesadzone, ale nie mówiąc nawet o charakterze człowieka, który mi się zawsze wydawał głęboko antypatyczny, chytry, nieszczerzy, często miałam go u siebie we środę na obiedzie. No i co, może pan spytać innych, nawet przy Brichocie, który nie jest żaden orzeł — ot, sobie poczciwy profesor gimnazjalny, którego ja wpakowałam do Instytutu — nawet przy nim Swann był wielkie nic. Szary, nudny!...

I na mój sprzeciw, pani Verdurin dodała:

— Ależ tak. Nie chcę nic mówić przeciwko niemu, skoro to był pański przyjaciel; zresztą on pana bardzo lubił, mówił o panu przemile rzeczy, ale niech się pan spyta tych tam, czy on kiedy przy obiedzie powiedział coś zajmującego? A ostatecznie, to jest próba człowieka. No i co, nie wiem czemu, ale Swann w moim domu to było nic, dosłownie nic. A jeszcze i to niewiele co był wart, zacerpnął tutaj.

Zapewniłam panią Verdurin, że był bardzo inteligentny.

— Nie, nie, pan w to wierzy, bo go pan znał mniej dawno niż ja. W gruncie, bardzo szybko dochodziło się do dna. Mnie on nudził śmiertelnie. (Tłumaczenie: był u księstwa La Tremoille i u Guermantów i wiedział, że ja tam nie bywam.) A ja mogę wszystko znieść, z wyjątkiem nudy. Och, tego nie!

Wstręt do nudy był teraz u pani Verdurin racją mającą tłumaczyć skład „paczki”. Nie przyjmowała jeszcze wielkich dam, bo niezdolna była się nudzić, tak jak sobie odmawiała podróży jachtem z powodu morskiej choroby. Powiedziałem sobie, że to, co mówiła pani Verdurin, nie było całkiem fałszywe. Podczas gdy Guermantowie ogłosiliby Brichota

największym głupcem jakiego w życiu widzieli, ja nie byłem pewny, czy on w gruncie nie przestał, jeżeli nie Swanna, to przynajmniej ludzi obdarzonych „dowcipem Guermantów”, ludzi mających tyle smaku aby unikać jego pedantycznych facecji i tyle wstydu aby się za nie rumienić. Zadawałem sobie to pytanie, tak jakby moja odpowiedź mogła poniekąd rozjaśnić naturę inteligencji; dumałem nad tem z całą powagą jansenisty, stawiającego sobie problem Łaski.

— Zobacz pan — ciągnęła pani Verdurin — kiedy się skonfrontuje światowców z ludźmi naprawdę inteligentnymi, z ludźmi naszego kółka, światowiec najdowcipniejszy w królestwie ślepych jest tutaj tylko jednookim. Przytem ci obcy tracą tutaj kontenans. Tak dalece, że zastanawiam się, czy zamiast próbować tych kombinacji, które psują wszystko, nie będę urządziła seryj wyłącznie dla nudziarzy, aby się móc dosyta cieszyć swoją paczką. Zatem, konkluzja: przyjedzie pan z kuzynką. Postanowione. Dobrze. Przynajmniej tutaj starczy dla was obojga jedzenia. W Féterne panuje wieczny głód i pragnienie. A, zato jeżeli pan lubi szczury, niech pan tam zaraz jedzie, będzie pan ich miał dosyta. I zostanie pan jak długo pan zechce. Fakt, że pan umrze z głodu. Zresztą ja, kiedy tam będę jechała, zjem obiad w domu. Powinienby pan po mnie wstąpić, będzie weselej. Zjedlibyśmy smaczny podwieczorek, a kolację za powrotem. Lubi pan placek z jabłkami? No więc! Nasz kucharz robi go jak nikt. Widzi pan, że miałam rację, mówiąc, że pan jest stworzony do mieszkania tutaj. Niechże się pan tu sprowadzi. Wie pan, u mnie jest o wiele więcej miejsca niż na to wygląda. Nie opowiadam tego, aby nie ściągać nudziarzy. Mógłby pan przywieźć na dłużej swoją kuzynkę. Miała by tu inne powietrze niż w Balbec. Tutejszem powietrzem sędzę że uleczyłabym nieuleczalnych. I leczyłam ich, i nie od dziś. Bo ja mieszkałam niegdyś tutaj zaraz obok: odkryłam to, wynajęłam za grosze, i miało to grubo więcej charakteru niż ta ich Raspelière. Pokażę to panu, kiedy się wybierzemy na spacer. Ale uznaję, że nawet tutaj powietrze jest naprawdę ożywcze. Nie chcę zresztą wiele o tem mówić, paryżanie gotowi się zapalić do mojego kącika. To był zawsze mój los. Koniec końców, niech pan to powie swojej kuzynce. Da się wam dwa ładne pokoje z widokiem na dolinę; zobaczy pan rano, słońce we mgle! A co to jest ten Robert de Saint-Loup, o którym pan mówił — dodała niespokojnie, bo słyszała że się wybieram do niego do Doncières i bała się aby mnie nie odciągnął. — Mógłby go pan raczej przywieźć z sobą, o ile to nie jest nudziarz. Słyszałam o nim od Morela; zdaje się, że to jego wielki przyjaciel — rzekła pani Verdurin, kłamiąc jak z nut, bo Saint-Loup i Morel nie wiedzieli nawet o mojem istnieniu. Ale usłyszawszy, iż Saint-Loup zna pana de Charlus, pomyślała że poznał go przez skrzypka i chciała zrobić wrażenie dobrze poinformowanej. — Czy on nie uprawia przypadkiem medycyny albo literatury? Wie pan, gdyby pan potrzebował protekcji przy egzaminach, Cottard może wszystko, a ja robię z nim co zechcę. Co się tyczy Akademji na później — bo nie sędzę aby dziś miał wiek potemu — mam sporo głosów do dyspozycji. Pański przyjaciel byłby tutaj między swymi, byłby może ciekaw poznać ten dom. Doncières, to nie jest zbyt zabawne. Słowem, zrobi pan jak pan zechce, jak panu będzie wygodniej — zakończyła, nie nalegając, aby się nie zdawało że lasa jest na arystokratyczne znajomości i dlatego że miała pretensję, aby tyrania, jaką nakładała swoim wiernym, nazywała się wolnością. — No, co tobie jest? — rzekła, widząc pana Verdurin, który z oznakami zniecierpliwienia wyszedł na taras biegnący wzdłuż salonu nad doliną, jak człowiek który się dławi w wściekłości i potrzebuje zaczerpnąć powietrza. To znów Saniette cię zirytował? Ależ skoro wiesz że to idiota, pogódź się z tem, nie doprowadzaj się do takiego stanu. Nie lubię tego — rzekła pani Verdurin do mnie — bo to jest dla męża niebezpieczne, to go przyprawia o kongestję. Ale też zgadzam się że trzeba czasem mieć anielską cierpliwość aby znieść Saniette'a, a zwłaszcza aby pamiętać że trzymać go to jest obowiązek miłosierdzia. Co do mnie, przyznaję, że pełnia jego głupoty napawa mnie raczej rozkoszą. Słyszał pan, zdaje mi się, jego powiedzenie po obiedzie: „Nie umiem grać w wista, ale umiem grać na fortepianie”. Czy to nie piękne! To wielkie jak świat; zresztą kłamstwo, bo tak samo nie ma pojęcia o jednym jak o drugim. Ale mąż pod pozorami szorstkości jest bardzo wrażliwy, bardzo dobry, i rodzaj egoizmu Saniette'a, wciąż zajętego obmyśleniem efektu, wyprowadza go z równowagi. — No, mój drogi, uspokój się; wiesz przecie, Cottard mówił, że to niedobrze na twoją wątrobę. I to na mnie wszystko spadnie — rzekła pani Verdurin. Jutro Saniette będzie miał swój atak nerwów i łez. Biedny człowiek! Jest bardzo chory. Ale ostatecznie, to nie jest racja aby zabijał innych.

A potem, nawet w chwilach gdy zanadto cierpi, kiedyby się go chciało żalować, głupota jego paraliżuje wszelkie współczucie. Jest za głupi! Powiedz mu poprostu bardzo uprzejmie, że od tych scen chorujecie obaj, żeby nie przychodził, a że tego się najbardziej boi, będzie to miało kojący wpływ na jego nerwy — podszeptała pani Verdurin mężowi.

Zaledwie rozróżniało się morze przez okna po prawej. Ale przez okna z drugiej strony widać było dolinę, na którą spadł teraz śnieg księżycy. Od czasu do czasu dochodziły głosy Morela i Cottarda. „Ma pan atu? — *Yes*. — Wpadł pan! — rzekł p. de Cambremer do Morela w odpowiedzi na jego pytanie, bo widział w ręku doktora pełno atutów. — Oto kobita trefna — rzekł doktor. — Mam zaszczyt przedstawić to jako atu: ja bila, ja miała lewą. — Trefelki, kolorek niewielki — rzekł doktor do pana de Cambremer. — Czekaj pan — dodał pokazując przeciwnika, teraz urządzimy mu Waterloo.

I Waterloo musiało dobrze wypaść dla doktora, bo śmiejąc się w upojeniu zaczął rozkosznie poruszać ramionami, co było w jego rodzinie, w „plemieniu” Cottard, zoologiczną niemal oznaką zadowolenia. W poprzednim pokoleniu towarzyszył temu ruchowi gest zacierania rąk, tak jakby się je mydliło. Sam Cottard posługiwał się zrazu tą podwójną mimiką; ale pewnego pięknego dnia, niewiadomo dzięki jakiej interwencji — małżeńskiej, może profesorskiej? — zacieranie rąk znikło. Nawet grając w domino, kiedy zmuszał partnera do tego aby kapitulował i brał *podwójne sześć* — co było dla niego szczytem rozkoszy — Cottard zadowalał się ruchem ramion. A kiedy — możliwie najrzadziej — wpadał na kilka dni w rodzinne strony, wówczas, ujrawszy stryjecznego brata, który jeszcze trwał przy zacieraniu rąk, powiadał za powrotem do żony: „Pocziwy Michał wydał mi się bardzo pospolity”.

— Czy pan ma młode? — rzekł zwracając się do Morela. — Nie? Więc ja gram tego starego Dawida.

— Ale w takim razie pan ma pięć, wygrał pan!

— Piękne zwycięstwo, doktorze — rzekł margrabia.

— Zwycięstwo *à la* Pyrrus — rzekł Cottard, obracając się do margrabiego i patrząc nań z nad binokli, aby ocenić wrażenie tego cytatu. — Jeżeli mamy jeszcze czas — rzekł do Morela — dam panu rewanz. Ja robię. A, nie, już zajęchali, odłóżmy to do piątku, wytnę panu sztukę, sztukę mięsa.

Państwo Verdurin wyprowadzili nas. Pryncypalka była szczególnie miła dla Saniette’a, aby mieć pewność że wróci jutro. „I co, malcze, będzie panu dość ciepło? — rzekł do mnie Verdurin, któremu wiek pozwalał na tę ojcowską nomenklaturę. — Moznaby rzec, że czas się odmienił.” Słowa te napełniły mnie radością, tak jakby głębokie życie natury, wyrażające się przyplływem nowych kombinacji, miało oznajmiać inne zmiany w moim życiu, stwarzając w niem nowe możliwości. Już otwierając drzwi do parku w momencie odjazdu, czuło się, że inny „czas” wypełnia od paru chwil scenę; czuło się w świerkowym lesie (gdzie niegdyś pani de Cambremer marzyła o Chopinie), jak chłodny wietrzyk, rozkosz lata, rozpoczyna, ledwie wyczuwalnie, w pieszczotliwych skrętach, w kapryśnych wirach, swoje lekkie nokturny. Podziękowałem za pled, który w następane wieczory, będąc w towarzystwie Albertyny, miałem przyjmować raczej dla osłonięcia sekretów rozkoszy niż dla ochrony przed chłodem. Napróżno szukano norweskiego filozofa. Czy dostał boleści? Czy bał się spóźnić na pociąg? Czy zajęchał po niego samolot? Czy dostał cudu wniebowstąpienia? Fakt jest, że znikł, zanim ktoś miał czas się spostrzec — jak bóg.

— Żle pan robi — rzekł do mnie p. de Cambremer — jest psie zimno.

— Czemu psie? — spytał doktor.

— Niech się pan strzeże astmy — dodał margrabia. — Moja siostra nigdy nie wychodzi wieczorem. Zresztą ona jest teraz w nieszczęśliwej skórce. W każdym razie, niech pan tak nie stoi z gołą głową, niech pan prędko włoży kapelusz.

— To nie jest duszność *a frigore* — rzekł sentencjonalnie Cottard.

— A! a! — rzekł p. de Cambremer z ukłonem — skoro to jest pańska opinia...

— Opinia publiczna — rzekł doktor rzucając z nad binokli jowialne spojrzenie.

P. de Cambremer zaśmiał się, ale przekonany że ma rację, nalegał:

— Jednak — rzekł — ile razy siostra wyjdzie wieczór, ma atak.

— Tere fere! — odparł doktor, nie zdając sobie sprawy ze swojej niegrzeczności. Zresztą ja nie praktykuję nad morzem, chyba że mnie wezwą na konsylium. Jestem na wakacjach.

Był zresztą na wakacjach bardziej może niżby pragnął. Kiedy p. de Cambremer powiedział, siadając z doktorem do powozu: „Mamy szczęście posiadać w pobliżu (nie z pańskiej strony zatoki, z przeciwnej strony, ale jest tak wąska w tym miejscu) drugą sławę lekarską: doktora du Boulbon”, Cottard, który przez *deontologię* nie pozwalał sobie zazwyczaj na krytykowanie kolegów, nie mógł się wstrzymać od okrzyku, jak w ów nieszczęsny dzień, gdyśmy zaszli razem do małego kasyna:

— Ależ to nie jest lekarz! On uprawia medycynę literacką; to jest terapijka fantazyjna, szarlataneria. Zresztą, jesteśmy z sobą w najlepszych stosunkach. Wsiadłbym na statek, aby go odwiedzić któregoś dnia, gdybym nie musiał czasowo dezertować z tych stron.

Ale z miny jaką przybrał Cottard, mówiąc o doktorze du Boulbon, uczułem, że statek którym by go chętnie odwiedził, bardzo byłby podobny do owego statku, który, aby zniszczyć wody odkryte przez innego lekarza-literata, Wirgiliusza (odebrał im też całą klientelę), wynajęli doktorzy z Salerno, ale który zatonął wraz z nimi podczas przeprawy.

— Do widzenia, drogi Saniette, nie zapomnij pan wpaść jutro, pan wie, jak mąż pana lubi. Ceni pański dowcip, pańską inteligencję; ależ tak, pan wie najlepiej; on lubi parskać, zrzedzić, ale nie może się obyć bez pana. Zawsze pierwsze pytanie, które mi zadaje, to: „Czy Saniette będzie, tak go lubię widzieć u siebie.”

— Nigdy tego nie mówiłem — rzekł do Saniette’a Verdurin z udaną szczerością, która zdawała się wybornie godzić słowa pryncypalki ze sposobem w jaki on sam traktował Saniette’a. Potem, patrząc na zegarek, zapewne aby nie przeciągać pożegnań w wieczornym chłodzie, zalecił stangretom aby się nie wlekli, ale aby byli ostrożni przy zjeździe, i zapewnił że zdążymy przed pociągiem. Pociąg ten miał nas wysadzić grupkami na kolejnych stacjach, kończąc na mnie, bo nikt więcej nie jechał do samego Balbec, a zaczynając od Cambremerów. Wsiadali pierwsi: aby nie męczyć po nocy koni aż do Raspeliere, wsiadli na pociąg z nami w Douville-Féterne. W istocie nie była to najbliższa stacja od nich (była dość odległa od wsi, a bardziej jeszcze od zamku); najbliższa była Sogne. Za przybyciem na stację Douville-Féterne, pan de Cambremer chciał „wynadgrodzić”, jak mówiła Franciszka, stangreta Verdurinów (właśnie tego sympatycznego subtelного stangreta o melancholijnych nastrojach), bo margrabia był hojny i pod tym względem raczej „wdał się w mamę”. Ale wmieszała się w to „strona papy”; może dając złął się bądź omyłki swojej (gdyby np. źle widząc dał susa zamiast franka), bądź omyłki obdarowanego, gdyby ów nie spostrzegł rozmiarów datku. Toteż podkreślił go: „Daję ci franka, prawda” — rzekł do stangreta obracając w świetle srebrnika, tak aby wierni mogli to powtórzyć pani Verdurin. — Nieprawdaż, franka, bo to jest nieduży kurs.”

P. de Cambremer z żoną pożegnali nas w Sogne.

— Powiem siostrze — rzekł jeszcze na rozstaniu — że pan ma astmę, to ją z pewnością zainteresuje.

Zrozumiałem, że chce powiedzieć: „to jej zrobi przyjemność”. Co do pani de Cambremer, ta, żegnając się ze mną, użyła dwóch skrótów, które raziły mnie wówczas nawet w liście, mimo że później przyzwyczajono się do nich, ale które w mówieniu dziś jeszcze mają dla mnie w swoim rozmyślnym zaniedbaniu, w swojej sztucznej poufalości, coś nieznośnie pedanckiego: „Rada ze spędzonego z panem wieczoru — rzekła; — serdeczności Saint-Loup, jeśli go pan zobaczy.” Mówiąc to, pani de Cambremer wymawiała *Saint-Loupe*. Nigdy nie dowiedziałem się, kto tak wymawiał przy niej, lub co jej kazało wnosić że tak trzeba wymawiać. Faktem jest, że przez kilka tygodni wymawiała *Saint-Loupe*, i że człowiek, który miał dla niej wielki podziw i stanował z nią niejako jedno, czynił tak samo. Jeżeli inne osoby mówiły *Saint-Lou*, oni oboje akcentowali z tem większym naciskiem *Saint-Loupe*, czy aby dać pośrednio lekcję drugim, czy aby się odróżnić. Ale z pewnością kobiety świetniejsze od pani de Cambremer powiedziały jej, lub dały pośrednio do zrozumienia, że nie trzeba tak wymawiać, i że to, co ona bierze za oryginalność, jest błędem zdolnym jej wyrobić opinię osoby mało *au courant* „świata”, bo wkrótce potem pani de Cambremer zaczęła mówić *Saint-Lou*, a jej wielbiciel również poniechał wszelkiego oporu, czy że go wymustrowała, czy że zauważywszy iż ona już

nie wybija ostatniej głoski, powiedział sobie, że skoro kobieta tej wartości, tej energii i ambicji ustąpiła, musiała to uczynić z ważnych powodów.

Najgorszym z jej wielbicieli był własny mąż. Pani de Cambremer lubiła sobie pozwalać wobec drugich na żarciki często bardzo niegrzeczne. Skoro tylko zaatakowała w ten sposób bądź mnie bądź kogo innego, p. de Cambremer patrzył na ofiarę, śmiejąc się. Ponieważ margrabia zezował — co daje wesołości nawet głupców pozór dowcipu — śmiech ściągał nieco żrenicy na białko, które inaczej byłoby całkiem białe. Podobnie okno wśród obłoków wprowadza trochę błękitu w niebo watowane chmurami. Zresztą monokl margrabiego chronił niby szkło na cennym obrazie ten delikatny proces. Co do samej intencji śmiechu, nie wiedziało się zbytnio czy była uprzejma: „A, hultaj! Doprawdy, godzien jesteś zazdrości. Masz łaski u kobiety djablo inteligentnej.” Albo szelmoska: „Hehe, drogi panie, widzę że sobie kpią z pana na potęgę”; albo usłużna: „Bądź pan spokojny, ja jestem tutaj, biorę rzecz na wesoło, bo to jest czysty żart, ale nie pozwoliłbym się znęcać nad panem”; albo pełna okrutnego współnictwa: „Nie mogłem jeszcze sam panu dosolić, ale widzi pan, pękam ze śmiechu ze wszystkich szpileczek które panu aplikuje żona. Kulam się ze śmiechu, zatem apróbuję, ja, mąż. Toteż, gdyby panu przyszła ochota się obrażać, miałbyś ze mną do czynienia, paniczu. Najpierw wyciąłbym ci parę tęgich policzków, a potem skrzyżowałibyśmy szpady w lasach Chantepie.”

Jakibądź miały sens te różne interpretacje wesołości męża, wyskoki żony kończyły się rychło. Wówczas p. de Cambremer przestawał się śmiać, przelotna żrenica znikła, że zaś widz odzwychnął się od paru minut od całkowicie białego oka, dawało ono temu czerwonemu normandczykowi coś zarazem bezkrwistego i ekstatycznego, tak jakby margrabiego świeżo zoperowano, lub jakby z pod monokla błagał niebo o palmę męczeńską.

### ROZDZIAŁ III

*Smutki pana de Charlus. — Fikcyjny pojedynek. — Stacje „Transatlantyku”. — Zmęczony Albertyną, chcę z nią zerwać.*

Upadłem z senności. Zawiózł mnie windą na piętro nie windziarz, ale zezowaty grom, który wdał się ze mną w rozmowę, aby mi opowiedzieć, że siostra zawsze „się trzyma” z owym bogatym Panem, i że raz, kiedy miała ochotę wrócić do domu zamiast żyć przykładnie, Pan odszukał matkę zezowatego grooma i innych szczęśliwych dzieci, która-to matka corychlej odprowadziła tę warjatkę do jej protektora. „Pan wie, proszę pana, moja siostra to wielka dama! Gra na fortepianie, mówi po hiszpańsku. I czego by pan nie przypuszczał po siostrze prostego funkcjonariusza, który pana wiezie windą, nie odmawia sobie niczego, ma pokojówkę, nie dziwiłbym się gdyby miała kiedy własny powóz. Gdyby ją pan widział: jest bardzo ładna, trochę dumna, ale to można zrozumieć. Bardzo jest też dowcipna. Kiedy wyjeżdża z hotelu, zawsze się wypróżni do szafy, do komody, żeby zostawić pamiątkę pokojówce, która będzie musiała sprzątać. Czasami nawet załatwia to w dorożce i zapłaciwszy kurs chowa się gdzieś w kącie, żeby się uśmieć na widok pyskującego fiakra, który musi czyścić wehikuł. Ojciec też miał dobry pomysł, że wynalazł dla mego młodszego brata tego indyjskiego księcia, którego znał z dawniejszych czasów. Oczywiście, to inny rodzaj. Ale pozycja wspaniała. Gdyby nie podróże, toby był szczyt! Jedynie ja dotąd zostałem na lodzie. Ale nie można wiedzieć. Moja rodzina ma szczęście; kto wie, czy nie będę kiedy prezydentem Republiki. Ale ja tu gawędzę z panem (nie rzekłem ani słowa i zaczynałem zasypiać słuchając). Dobranoc panu. Och! dziękuję. Gdyby wszyscy mieli takie serce jak pan, nie byłoby biedaków. Ale, jak powiada siostra, zawsze będą potrzebni po to, żebym teraz, kiedy jestem bogata, miała na kogo d... wypinać. Daruje pan wyrażenie. Dobranoc panu”.

Być może, iż co wieczór przyjmujemy ryzyko przeżycia we śnie cierpień, które mamy za błahe i nie istniejące, dlatego że będziemy je odczuwali w czasie snu, który uważamy za pozbawiony świadomości. W istocie, w owe wieczory kiedy wracałem późno z la Raspelière, byłem bardzo śpiący. Ale od czasu gdy nastaly chłody, nie mogłem zaraz zasnąć, bo ogień świecił tak jakby się paliła lampa. Tylko że ten blask trwał krótko: to nazbyt żywe światło — również jak lampa, jak dzień z zapadnięciem wieczoru — przygasła niebawem; zaczęłam pogrążać się we śnie, będącym niby drugie mieszkanie, dokąd,



opuściwszy swój dom, poszlibyśmy spać. Ma ono swoje dzwonki, i czasami budzi nas gwałtownie ich dźwięk, doskonale słyszalny dla naszych uszu, mimo iż nikt nie dzwonił. Ma swoją służbę, swoich osobliwych gości, którzy zachodzą aby nas zabrać z sobą, tak iż gotowi jesteśmy wstać, kiedy musimy stwierdzić, na skutek naszego prawie natychmiastowego przeniesienia do innego mieszkania — owego z wczoraj — że pokój jest pusty, że nikt nie przyszedł. Plemię, które go zamieszkuje, jest — jak plemię pierwszych ludzi — obojnacze. Mężczyzna przybiera tam po chwili postać kobiety. Przedmioty zdolne są stawać się ludźmi, ludzie przyjaciółmi i wrogami. Czas, który upływa dla śpiącego w chwili takich snów, jest absolutnie różny od czasu w którym spełnia się życie człowieka na jawie. To bieg jego jest o wiele szybszy — kwadrans wydaje się dniem — to znów o wiele dłuższy; człowiek myśli że uciał lekką drzemkę, a spał cały dzień. Wówczas, na rydwanie snu, zstępujemy w głębinę, gdzie wspomnienie nie może go już osiągnąć i od których duch musiał zawrócić z drogi. Zaprzęg snu, podobny do zaprzęgu słońca, biegnie krokiem tak równym, w atmosferze gdzie nie może go już powstrzymać żaden opór, że trzeba jakiegoś małego obcego nam aerolitu (ciśniętego z lazuru przez coś Nieznanego), aby osiągnąć regularnego snu (który inaczej nie miałby żadnego powodu aby się przerwać i biegłby jednakim rytmem aż po wieki wieków) i kazać mu gwałtownym zwrotem wrócić do rzeczywistości, mijać postoje, przebyć regiony sąsiadujące z życiem, gdzie niebawem śpiący usłyszy jego odgłosy, jeszcze mętne ale już rozpoznawalne mimo iż zniekształcone — i wylądować nagle w przebudzeniu. Wówczas budzimy się z głębokich snów w jakiejś jutrzence, nie wiedząc kim jesteśmy, nie będąc niczem, nowi, gotowi do wszystkiego z mózgiem opróżnionym z owej przeszłości, która była dotąd życiem. A może jest jeszcze piękniej, kiedy lądowanie w jawę spełnia się brutalnie i kiedy nasze myśli sennie, wymknąwszy się przez klapę zapomnienia, nie mają czasu wrócić stopniowo, zanim sen ustanie. Wówczas z czarnej burzy, którą — jak nam się wydaje — przebyliśmy (ale nie mówimy nawet *my*) wypływamy otepiali, bez myśli — jakiegoś „my” wyzute z wszelkiej treści. Cóż za cios maczugi otrzymała ta istota lub rzecz, że oto nie wie nic — ogłupiała aż do chwili gdy nadbiegająca pamięć wróci jej świadomość lub osobowość? Ale gdy chodzi o te dwa sposoby budzenia się, nie trzeba zasypiać — nawet głęboko — pod znakiem przyzwyczajenia. Bo przyzwyczajenie czuwa nad wszystkim cokolwiek ujmie w swoje sieci; trzeba mu się wymknąć, zażyć snu w chwili gdy się myślało że się robi raczej wszystko inne niż śpi, słowem gdy sen nie znajduje się pod opieką przewidywania, w towarzystwie — bodaj ukrytem — refleksji. W tych przebudzeniach przynajmniej, takich jak je tu opisałem (a przeważnie były takie nazajutrz po obiedzie w la Raspelière), wszystko się działo właśnie tak: mogę to poświadczyć, ja, dziwny człowiek, który, czekając aż go śmierć oswobodzi, żyje przy zamkniętych okiennicach, nie wie nic o świecie, tkwi nieruchomo jak sowa, i jak sowa widzi nieco jedynie w ciemnościach. Wszystko się dzieje właśnie tak; ale może jedynie warstwa pakuł nie pozwoliła śpiącemu dosłyszeć wewnętrznego dialogu wspomnień oraz nieustannej paplaniny snu. Albowiem (co może się zresztą tłumaczyć równie dobrze w pierwszym systemie, obszerniejszym, bardziej tajemniczym, bardziej astralnym), w chwili gdy następuje przebudzenie, śpiący słyszy wewnętrzny głos, który mu powiada: „Czy przyjdiesz dziś na obiad, drogi przyjacielu, jakby to było miło?” — i myśli: „Tak, jakby to było miło, pójdę”; potem, kiedy się przebudzenie posuwa, przypomina sobie nagle: „Babcia ma tylko kilka tygodni do życia, powiada doktor”. Dzwoni, płacze na myśl, że to nie jak dawniej babka — umierająca babka — ale obojętny służący zjawi się na wezwanie. Zresztą, kiedy sen unosił go tak daleko poza świat zamieszkały przez wspomnienie i przez myśli, poprzez jakiś eter gdzie był sam, bardziej niż sam, nie mając nawet *samemu siebie*, tego towarzysza w którym uświadamiamy się sobie — był poza czasem i jego miarą. Już służący wchodzi i on nie śmie spytać go o godzinę, bo nie wie czy spał, ile godzin spał (pyta sam siebie, czy to nie jest „ile dni”, tak dalece powraca stamtąd zmęczony ciałem a wypoczęty duchem, z sercem pełnym tęsknoty, niby z podróży zbyt dalekiej aby mogła nie trwać długo). Z pewnością, można twierdzić, że istnieje tylko jeden czas, dla tej błahej przyczyny, że, patrząc na zegar, stwierdziliśmy, iż to, cośmy uważali za dzień, było tylko kwadransiem. Ale w chwili kiedy to stwierdzamy, jesteśmy właśnie człowiekiem obudzonym, zanurzonym w czasie ludzi obudzonych, zbiegliśmy z innego czasu. Może nawet więcej niż z innego czasu: z innego życia. Przyjemności, których kosztujemy we śnie, nie wliczamy do przyjemności

doznawanych w ciągu naszego istnienia. Aby wspomnieć jedynie najgrubiej zmysłową ze wszystkich, któż z nas, przy przebudzeniu, nie odczuwał nieco irytacji, że doznał w czasie snu rozkoszy, której — jeżeli się nie chce zbyt zmęczyć — nie może, obudzony, powtarzać tego dnia nieograniczenie. To jest niby stracone dobro. Mieliliśmy przyjemność, ale w innym życiu, które nie jest naszym. Jeżeli wprowadzamy w bilans cierpienia i rozkosze snu (które naogół pierzchają bardzo szybko po przebudzeniu), to nie w bilans bieżącego życia.

Powiedziałem *dwa czasy*; może jest tylko jeden, nie iżby czas człowieka na jawie obowiązujący był dla śpiącego, ale może dlatego, że drugie życie — to w którym śpimy — nie podlega — w głębszej warstwie — kategorjom czasu. Wyobrażałem to sobie, kiedy, po owych obiadach w la Raspelière, zasypiałem tak całkowicie. Oto czemu. Zaczynałem wpadać w rozpacz po przebudzeniu, kiedy, mimo że dzwonił dziesięć razy, służący nie przychodził. Po jedenastym dzwonku zjawiał się. I to był pierwszy dzwonek. Dziesięć innych, to były jedynie szkice — zrobione jeszcze w czasie snu — szkice aktu dzwonięcia, który chciałem wykonać. Moje zdrewniałe ręce nawet się nie poruszyły. Otóż, w te poranki (i to mnie utwierdza w mniemaniu, iż może sen nie zna praw czasu) wysiłek mój dla przebudzenia się polegał zwłaszcza na wysiłku, aby ciemny nieokreślony blok snu, który właśnie przeżyłem, wprowadzić w ramy czasu. To nie jest łatwe zadanie; sen, który nie wie czyśmy spali dwie godziny czy dwa dni, nie może nam dać żadnego punktu zaczepienia. A jeżeli nie znajdziemy go poza sobą, wówczas, nie mogąc wrócić w czas, znów zasypiamy — na pięć minut, które się nam zdają trzema godzinami.

Mówiłem zawsze — i doświadczyłem tego — że najpotężniejszym z środków nasennych jest sen. Skoro się prześpi głęboko dwie godziny, nawalczy z tyłoma olbrzymami i zawiąże na zawsze tyle przyjaźni, o wiele trudniej jest obudzić się, niż po zażyciu kilku gramów weronalu. Toteż, wnioskując z jednego o drugim zdziwiłem się, dowiadując się przez norweskiego filozofa, który usłyszał o tem od pana Boutroux, „swego znakomitego kolega — przepraszam, kolegi” — co pan Bergson myśli o swoistych zmianach pamięci pod wpływem środków nasennych. „Oczywiście — miał powiedzieć Bergson do Boutroux, jeżeli wierzyć norweskiemu filozofowi — środki nasenne, zażyte od czasu do czasu w umiarkowanych dawkach, nie mają wpływu na solidną pamięć naszego codziennego życia, tak dobrze w nas ugruntowaną. Ale istnieją inne pamięci, wyższe, a także mniej stałe. Jeden z moich kolegów wyklada historię starożytną. Powiedział mi, że jeżeli w wilję wziął proszek na spanie, trudno mu w czasie wykładu odnaleźć w głowie potrzebne greckie cytaty. Doktor, który mu zalecił te proszki, zapewnił go, że są bez wpływu na pamięć. „Widocznie pan nie potrzebuje greckich cytatów”, odpowiedział historyk nie bez ironicznej dumy.

Nie wiem, czy ta rozmowa pana Bergsona z p Boutroux jest ścisła. Norweski filozof, mimo iż tak głęboki i jasny, i tak żarliwie uważny, mógł źle zrozumieć. Mnie osobiście, doświadczenie dało przeciwne wyniki. Chwile zapomnienia, będące następstwem pewnych narkotyków, mają częściowe tylko ale niepokojące podobieństwo z zapomnieniem, panującym w czasie naturalnego i głębokiego snu. Otóż w jednym i w drugim wypadku, zapomnienie tyczy nie jakiegoś wiersza Baudelaire’a, który mnie raczej nuży „jak cymbały”; nie tezy któregoś z cytowanych wyżej filozofów; ale samej rzeczywistości pospolitych rzeczy które mnie otaczają we śnie, a których nie percypowanie robi ze mnie warjata; nęka mnie — kiedy się obudzę i tem samem wyrwę się ze sztucznego snu — nie system Porfirjusza lub Plotyna, o których mogę dysputować nie gorzej niż zwykle, ale odpowiedź na jakieś zaproszenie, którą przyrzekłem dać a której pamięć zajęła kompletna luka. Myśli wyższej kategorii zostały na swoim miejscu; jeżeli co unicestwił środek nasenny, to zdolność działania w drobnych rzeczach, we wszystkim co wymaga energii aby pochwycić na czas i odnaleźć jakieś wspomnienie codziennego życia. Mimo wszystko co możnaby rzec o trwaniu życia po zniweczeniu mózgu, stwierdzam, że każdemu uszkodzeniu mózgu odpowiada jakiś fragment śmierci. Posiadamy wszystkie nasze wspomnienia, choćby utopione w stanie niepamięci — powiada za Bergsonem wielki filozof norweski, którego wysłowienia nie staram się naśladować, aby nie zwalniać jeszcze opowiadania. Ale co znaczy wspomnienie, którego się nie pamięta? Albo też idźmy dalej. Nie przypominamy sobie swoich wspomnień z ostatnich trzydziestu lat, ale cali jesteśmy w nich zanurzeni; czemu zatem ograniczać się do tych trzydziestu lat, czemu nie przedłużyć tego dawniej-

szego życia poza urodzenie? Z chwilą gdy nie znam całej partji wspomnień będących za mną, z chwilą gdy są dla mnie niewidzialne, kiedy nie mam zdolności przywołania ich do siebie, kto mi powie, czy w owej nieznannej mi masie nie ma takich, któreby sięgały o wiele poza moje ludzkie życie? Jeżeli mogę mieć w sobie i dokoła siebie tyle wspomnień, których sobie nie przypominam, zapomnienie to (przynajmniej zapomnienie faktyczne, skoro nie mam zdolności widzenia czegokolwiek) może się odnosić do życia, którem przeżył w ciele innego człowieka, nawet na innej planecie. Jednakże zapomnienie wymazuje wszystko. Ale wówczas, cóż znaczy ta nieśmiertelność duszy, o której rzeczywistości upewnia norweski filozof? Istota, którą będę po śmierci, tak samo nie ma racji przypominać sobie o człowieku którym jestem od urodzenia, jak ten nie przypomina sobie czem byłem przed niem.

Wchodził służący. Nie mówiłem mu, że dzwoniłem wiele razy, bom sobie zdawał sprawę, że dotąd tylko mi się śniło że dzwonił. Przeraziła mnie wszelako myśl, że ten sen miał jasność świadomości. Czyżby świadomość miała — naodwrot — nierealność snu?

W zamian za to pytałem go, kto tak dzwonił w nocy. Odpowiadał że nikt, i mógł tak twierdzić, bo „tabela” dzwonek byłaby to zaznaczyła. Mimo to, słyszałem odgłosy powtarzające się, niemal wściekle, które drgały mi jeszcze w uszach i które miałem odczuwać przez szereg dni. Bądź co bądź, rzadko się zdarza, aby tak w życiu na jawie sen wtrącił wspomnienia, nie umierające wraz z nim. Można policzyć te aerolity. Jeżeli to jest jakaś myśl wytworzona przez sen, rozkłada się ona szybko na drobne, nie podobne do odnalezienia fragmenty. Ale tu sen sfabrykował dźwięki. Materjalniejsze i prostsze, trwały one dłużej. Zdziwiła mnie wczesna stosunkowo godzina, którą mi oznajmił służący. Czulem się, mimo to, wypoczęty. Raczej lekkie sny trwają długo, bo będąc czemś pośredniem między jawą a snem, zachowując z jawy zatartą nieco ale ciągłą świadomość, potrzebują nieskończenie więcej czasu aby nam przynieść wypoczynek; natomiast sen głęboki może być krótki. Czulem się bardzo dobrze z innej przyczyny. O ile wystarcza sobie przypomnieć że się jest zmęczonym aby odczuć dotkliwie zmęczenie, w zamian powiedzieć sobie „wypocząłem” wystarczy aby stworzyć uczucie wypoczynku. Otóż, śniło mi się że p. de Charlus ma sto dziesięć lat i że wyciął właśnie kilka policzków własnej matce; że pani Verdurin kupiła za pięć miliardów bukietek fiołków; byłem tedy pewny, że spałem głęboko, że śniłem nawspak pojęciom jakie mogłem mieć na jawie oraz wszystkim możliwościom bieżącego życia; to wystarczało, abym się czuł doskonale wypoczęty.

Zdziwiłbym bardzo matkę, która nie mogła zrozumieć nadszłości pana de Charlus Verdurinom, gdybym jej opowiedział (właśnie w dniu gdy zamówił toczek Albertyny, nic nie mówiąc, żeby jej zrobić niespodziankę), z kim p. de Charlus przyszedł na obiad na salę w Grand Hotelu w Balbec. Gościem był nie kto inny, jak lokaj kuzynki Cambremérów. Lokaj ów ubrany był bardzo wytwornie i kiedy mijał z baronem hall, robił „świat” (jakby powiedział Saint-Loup) na intencję gości hotelowych. Nawet młodzi strzelcy, „lewicy” w tej chwili schodzący tłumem po stopniach świątyni (bo to był moment zmiany służby), nie zwrócili uwagi na dwóch przybyłych, z których jeden, p. de Charlus, miał oczy spuszczone, aby okazać, że i on nie interesuje się nimi. Robił wrażenie, że sobie toruje drogę pośród nich. „Kwitnij, droga nadziejo świętego narodu” — powiadał, przypominając sobie wiersze Racine’a, użyte w całkiem innym sensie. „Co proszę?” spytał lokaj niezbyt obyty z klasykami. P. de Charlus nie odpowiedział mu, bo wkładał niejaką dumę w to aby się nie liczyć z pytaniami i aby iść przed siebie prosto tak jakby nie było innych gości w hotelu i jakby istniał w świecie tylko on jeden, baron de Charlus. Ale ciągnąc dalej wiersze Josabety: „Pójdźcie, pójdźcie, dziewczęta”, uczuł niesmak i nie dodał jak ona: „Trzeba je zawołać”, bo ta młodzież nie doszła jeszcze wieku, w którym pleć jest całkiem zdeklarowana i który podobał się panu de Charlus. Zresztą, jeżeli napisał do lokaja pani de Chevreigny (ponieważ nie wątpił o jego gotowości), wyobrażał go sobie bardziej męskim. Zbliża wydał mu się bardziej zniewieściałą, niżby baron pragnął. Oznajmił mu, iż myślał że chodzi o kogo innego, bo znał z widzenia innego lokaja pani de Chevreigny, którego w istocie zauważył na kozle. Tamten był kawal ordynarnego chło-

pa, całkowity kontrast tego, który przeciwnie, uważając własne mizdrzenie za szczególny urok i nie wątpiąc że to jego światowa dystynkcja uwiodła pana de Charlus, nie domyślił się nawet, o kim baron mówi. „Ależ ja nie mam innych kolegów, prócz jednego, który nie mógł pana zainteresować, jest okropny, robi wrażenie skończonego chama”. I na myśl, że to może tego chama baron zauważył, doznał ukłucia miłości własnej. Baron odgadł to, ale, prowadząc dalej swoją ankietę, rzekł:

— Ależ ja nie zrobiłem specjalnego ślubu, żeby znać tylko ludzi pani de Chevreigny. Czy mógłbyś mi przedstawić — tu, czy w Paryżu — skoro niebawem wracasz — swoich kolegów ze znajomych ci domów?

— Och, nie — odparł lokaj — ja nie żyję z nikim z mojej klasy. Odzywam się do nich jedynie w służbie. Ale jest ktoś *bardzo dobrze*, z kim mógłbym pana zapoznać.

— Kto taki? — spytał baron.

— Księżę Gilbert de Guermantes.

P. de Charlus uczuł się urażony, że mu proponują jedynie człowieka w tym wieku i do którego nie potrzebował zresztą polecenia lokaja. Toteż oschle uchylił tę propozycję i nie zrażając się światowymi pretensjami fagasa, zaczął mu jeszcze raz tłumaczyć, czego by on chciał, rodzaj, typ, może być żokiej, etc... Bojąc się, czy rejent, który przechodził właśnie, nie dosłyszał, udał niby to sprytnie, że mówi całkiem o czym innym niżby można było przypuszczać i rzekł dobitnie i głośno, tak jakby ciągnął poprzednią rozmowę:

— Tak, mimo swoich lat, wciąż jestem namiętnym kolekcjonerem, palę się wprost do ładnych drobiazgów, zdolny byłbym do szaleństw dla starego brązu, dla antycznego świecznika. Ubóstwiam Piękno.

Ale, aby uprzytomnić lokajowi zmianę tematu dokonaną tak szybko, p. de Charlus kładł taki nacisk na każde słowo, co więcej, aby być słyszany przez rejenta, krzyczał tak mocno, że cała ta komedia wystarczałaby aby zdradzić jego sekret uszom bystrzejszym niż uszy tego stróża praw. Rejent nie domyślił się niczego, tak samo jak inni goście; wszyscy ujrzeli w świetnie ubranym lokaju jedynie wytwornego turystę. Ale, o ile ludzie światowi złapali się na to i wzięli go za szykownego Amerykanina, służba hotelowa — zaledwie się pokazał — odgadła go tak, jak galernik poznaje galernika, a nawet szybciej jeszcze zwęszyła go na odległość, jak zwierzę poznaje węchem inne zwierzę. Starsi kelnerzy podnieśli głowy, Aimé rzucił podejrzliwe spojrzenie. Wzruszając ramionami i zasłaniając usta bo uważał że to jest grzeczniej, piwniczny sformułował kategoryczny sąd w sposób słyszalny dla wszystkich. I nawet nasza stara Franciszka, której wzrok podupadała a która przechodziła w tej chwili przez hall idąc na obiad do kredensu, podniosła głowę, poznała lokaja niepodejrzewanego przez hotelowych gości — jak stara niańka Euryklea poznaje Ulissesa o wiele wprzód niż zalotnicy gotujący się do uczty — i widząc jak p. de Charlus kroczy z nim poufale, przybrała wyraz przygnębienia, tak jakby nagle wszystko złe co słyszała i w co nie wierzyła, nabrało w jej oczach smutnego prawdopodobieństwa. Nie mówiła nigdy o tem zająsci mnie ani nikomu, ale musiało ono zadać jej mózgowi znaczną pracę, bo później, za każdym razem kiedy miała w Paryżu sposobność widzieć „Juljana” którego dotąd tak lubiła, była z nim zawsze uprzejma ale chłodna i z wielką rezerwą.

To samo wydarzenie skłoniło przeciwnie kogoś innego do zwierzeń, mianowicie Aimégo. Kiedym minął pana de Charlus, baron, który nie spodziewał się mnie spotkać, skinął mi ręką rzucając „dobrywieczór” z obojętnością (pozorną przynajmniej) wielkiego pana, który sądzi że mu wszystko wolno i woli udawać że się nie kryje przed nikim. Otóż, Aimé, który w tej chwili obserwował nieufnie barona i ujrzawszy że ja się kłaniam towarzyszowi osobnika pachnącego dłoń na miłą lokajem, spytał mnie tego wieczora, kto to taki. Bo od jakiegoś czasu, Aimé lubił rozmawiać, lub raczej, jak on to nazywał (bezwątpienia aby zaznaczyć charakter — wedle niego filozoficzny — tych gawęd), lubił „dyskutować” ze mną. Że zaś powiadałem mu często, iż mnie to krępuje aby on stał koło mnie podczas gdy jem obiad, zamiast żeby usiadł i podzielił mój posiłek, oświadczył że nigdy nie widział gościa, któryby „miał tak zdrowe poglądy”. Aimé rozmawiał w tej chwili z dwoma garsonami. Ukłonili mi się; nie wiem czemu twarze ich były mi nieznanne, mimo iż brzmienie głosów nie było mi całkiem nowe. Aimé lajał obu z powodu ich zaręczyn które potępiał. Wziął mnie na świadka; rzekłem, iż nie mogę mieć zdania, skoro ich nie znam. Przypomnieli mi swoje imiona i że często obsługiwali mnie w Rivebelle. Ale jeden zapuścił wąsy, drugi ogolił je i dał się ostrzyć; i z tej przyczyny, mimo iż na ich ramionach spoczy-

wała dawna głowa (nie zaś inna, jak w błędnych rekonstrukcjach kościoła Notre-Dame), stała mi się ona równie niewidzialna jak owe przedmioty, które umykają się najdrobiazgowszym poszukiwaniom, walają się poprostu na oczach wszystkich — nie widzialne tym oczom — na kominku. Z chwilą kiedy usłyszał ich imiona, ściśle rozpoznałem nieuchwytną muzykę ich głosu, bom ujrzał dawne twarze, które ją określały. „Chcą się żenić, a nie umieją nawet po angielsku!” — wykrzyknął Aimé, któremu nie przyszło na myśl, że ja słabo jestem obznajomiony z zawodem hotelarskim i nie zdaję sobie sprawy, że o ile ktoś nie zna obcych języków, nie może liczyć na „stanowisko”.

Sądząc iż Aimé dowiedziałby się łatwo, że nowy gość jest baronem de Charlus i wyobrażając sobie nawet, że on go sobie musi przypominać (ile że podawał do stołu, kiedy, za mego pierwszego pobytu w Balbec, baron zjawił się, aby odwiedzić panią de Villeparisis), nie robiłem sekretu z jego nazwiska. Otóż, nietylko Aimé nie przypominał sobie barona de Charlus, ale to nazwisko najwidoczniej wywarło na nim głębokie wrażenie. Powiedział mi, że nazajutrz poszuka w swoich rzeczach listu, który zdołałbym mu może wytłumaczyć. Czulem się tem bardziej zdziwiony, ile że p. de Charlus, kiedy mi chciał dać książkę Bergotte’a w pierwszym roku Balbec, specjalnie kazał wezwać Aimégo, później zaś musiał go spotkać w owej restauracji w Paryżu, gdzie byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką i gdzie nas Charlus szpiegował. Prawda, że Aimé nie mógł osobiście dopełnić tych misyj, bo za pierwszym razem już spał, a za drugim był w trakcie obsługiwanego. Miałem wszelako wielkie podejrzenia co do jego szczerości, kiedy twierdził, że nie zna pana de Charlus. Z jednej strony mógł wpaść w oko baronowi. Jak wszyscy garsoni w hotelu w Balbec, jak wielu lokajów księcia Gilberta, Aimé należał do rasy dawniejszej niż rasa księcia, zatem szlachetniejszej. Kiedy się prosiło o gabinet, myślało się zrazu że się jest samym. Ale niebawem spostrzegano się w kredensie posagowego kamerdynera, z owego etrusko-rudego rodzaju, którego Aimé był typem, nieco postarzałego od nadużyć szampa i czującego zbliżającą się kurację w Contrexeville. Nie wszyscy klienci żądali od nich tylko obsługi. Młodzi garsoni, pełni skrupułów, spieszący się, mający kochankę na mieście, wymykali się. Toteż Aimé wyrzucał im, że nie biorą życia serjo. Miał prawo. On był człowiekiem serjo. Miał żonę i dzieci, i miał dla nich ambicję. Toteż nie odpychał awansów jakie mu robił gość żeński lub męski, choćby trzeba było zostać całą noc. Bo praca przedewszystkiem. Był tak dalece w typie, który się mógł podobać panu de Charlus, że podejrzewałem go o kłamstwo, kiedy mi powiedział że nie zna barona. Myliłem się. Całkiem szczerze groom powiedział wówczas baronowi, że Aimé (który mu zmył głowę nazajutrz) położył się (lub wyszedł), a innym razem, że jest w służbie. Ale wyobraźnia roi ponad rzeczywistość. I zakłopotanie grooms obudziło zapewne w panu de Charlus co do szczerości jego wymówek wątpliwości, które zraniły w nim uczucie nie podejrzewane przez Aimégo. Widziano też, że Saint-Loup nie pozwolił Aimému iść do powozu, gdzie p. de Charlus, który, sam nie wiem jak, wystarał się o nowy adres kelnera, doznał jeszcze raz zawodu. Aimé, który nie zauważył barona, odczuł łatwe do pojęcia zdziwienie, kiedy wieczorem tego samego dnia gdy byłem na śniadaniu z Robertem i jego kochanką, otrzymał list zapieczętowany herbem Guermantów. Zacytuję tu kilka ustępów listu, jako przykład cząstkowego szaleństwa u inteligentnego człowieka zwracającego się do zdrowego na umyśle głupca.

„Łaskawy panie, mimo starań które zdziwiły by wielu, zabiegających napróżno o moją znajomość i o mój ukłon, nie mogłem uzyskać tego, abyś pan wysłuchał paru wyjaśnień. Nie żądałeś ich pan odemnie, ale uważałem za sprawę mojej i pańskiej godności udzielić mu ich. Napiszę zatem to, co byłoby mi łatwiej powiedzieć ustnie. Nie będę ukrywał, że za pierwszym razem, kiedy go ujrzałem w Balbec, fizjognomja jego wydała mi się wręcz antypatyczna”. (Następowały refleksje o podobieństwie — zauważyłem aż na drugi dzień ze zmarłym przyjacielem, do którego p. de Charlus był bardzo przywiązany). „Powziąłem wówczas myśl, że pan mógłby, nie ponosząc żadnych szkód w swoim zawodzie, zająć do mnie czasem na partyjkę kart, która wesołością swoją zdołałaby rozproszyć mój smutek, dałaby mi złudzenie, że on nie umarł. Nie myślę dochodzić natury mniej lub więcej głupich przypuszczeń, jakie pan zapewne uczynił, bardziej dostępnych dla sługusa (nie godnego nawet tego miana, skoro nie chciał służyć) niż zrozumienie tak wzniesłego uczucia. Chciał pan sobie przydać wagi, niby to nie wiedząc kim i czym jestem, każąc mi odpowiedzieć, kiedy go prosił o książkę, że już śpi: otóż błędem z jego strony jest

przypuszczać, że chamstwo może dodać wdzięku, którego pan jesteś zresztą całkowicie pozbawiony. Byłbym na tem skończył, gdybym przypadkiem nie spotkał pana nazajutrz rano. Pańskie podobieństwo do mego biednego przyjaciela zaakcentowało się tak bardzo — zacierając nawet przykry kształt pańskiej wystającej brody — iż zrozumiałem, że to zmarły w tej chwili użycza ci swego pocziwego wyrazu twarzy, aby ci dać możliwość przedjednania mnie i nie stracenia jedynej szansy, jaka się panu nastęrcza. W istocie, mimo że nie chcę — skoro wszystko już jest bezprzedmiotowe i skoro już nie będę miał sposobności spotkać pana w życiu — mieszać w to brutalnych spraw materialnych, z radością uległbym prośbom zmarłego (wierzę bowiem w świętych obcowanie i w ich współudział w losie żywych), aby z panem postąpić tak jak z nim samym. Otóż trzeba abyś pan wiedział, że on miał swój powóz i służbę, i całkiem naturalne było, żem na niego obracał większą część dochodów, skorom go kochał jak syna. Rozstrzygnąłeś pan inaczej. Na moją prośbę, abyś mi przyniósł książkę, kazałeś odpowiedzieć, żeś musiał wyjść. I dziś rano, kiedym pana kazał wezwać do powozu, zaparłeś się mnie pan — jeśli wolno mi tak rzec bez świętokradztwa — po raz trzeci. Daruje pan, że nie wkładam do tej koperty wygórowanych napiwków które spodziewałem się mu wręczyć w Balbec i do których byłoby mi zbyt ciężko ograniczyć się w stosunku do kogoś, z kim pragnąłem przez chwilę podzielić wszystko. Conajwyżej mógłbyś mi pan oszczędzić w swojej restauracji czwartego daremnego kroku, do którego cierpliwość moja się posunie. (Tutaj, p. de Charlus podał adres, godziny w których go można zastać, etc.) Żegnam pana, Ponieważ sądzę, iż będąc tak podobny do mego zmarłego przyjaciela, nie może pan być całkowitym idjotą (inaczej fizjognomika byłaby wiedzą żałośnie kłamiwą), jestem przekonany, że kiedyś, jeśli pan sobie przypomnisz to zdarzenie, nie będzie to bez pewnego żalu i wyrzutu. Co do mnie, niech mi pan wierzy, że bardzo szczerze nie zachowuję żadnej urazy. Wolałbym abyśmy się rozstali z mniej gorzkim wspomnieniem niż ten trzeci daremny krok; ale będzie on rychło zapomniany. Jesteśmy jak owe okręty, któreś pan musiał widzieć czasem w Balbec: — skrzyżowały się przez chwilę, byłoby może z korzyścią dla obu zatrzymać się, ale jeden z nich uznał inaczej; rychło nie dojrzą się nawet na widnokręgu, wszelki ślad spotkania się zatrze; ale przed ostatecznym rozstaniem, pozdrawiają się wzajem — oto co właśnie czyni, życząc mu powodzenia, baron de Charlus.”

Aimé nie przeczytał nawet do końca tego listu, nie rozumiejąc nic, bojąc się mistyfikacji. Kiedym mu wytłumaczył kim jest baron, zadumał się chwilę i odczuł ów żal, który mu p. de Charlus przepowiadał. Nie przysiągłbym nawet, czy nie napisał wówczas listu z przeprosinami do człowieka, który rozdaje powozy swoim przyjaciółom! Ale tymczasem p. de Charlus poznał Morela. Co najwyżej — wobec tego że stosunki z Morelem były może platoniczne — p. de Charlus szukał czasem na jeden wieczór towarzystwa, jak to, w którym spotkałem go w hału. Ale nie mógł już odwrócić od Morela gwałtownego uczucia, które kilka lat wprzód gotowe było skupić się na osobie Aimégo, dyktując baronowi ten list, za który wstydzilem się za niego. List ten — jako objaw wżgardzonej przez społeczeństwo miłości którą płonął p. de Charlus, był tem bardziej uderzającym przykładem ślepej i potężnej siły, jaką mają te porywy, w których zakochany, niby pływak bezwiednie unoszony prądem, rychło traci ziemię z oczu. Bezwątpienia, miłość człowieka normalnego również pozwala niekiedy zmierzyć dość znaczne odchylenie dwóch ramion cyrkla, kiedy kochanek, pod wpływem kolejnego działania pragnień, żalów, zawodów, projektów, zbuduje cały romans o nieznałej kobiecie; jednakże to swoiste rozchylenie zwiększało się tu szczególnie wskutek charakteru namiętności przeważnie nie podzielanej i wskutek przepaści socjalnej między panem de Charlus a Aimém.

Codziennie robiłem spacer z Albertyną. Zdecydowała się wrócić do malarstwa; jako model wybrała zrazu kościół Saint-Jean de la Haise, nie odwiedzany już przez nikogo a znany mało komu, trudny do dopytania się, niepodobny do odnalezienia bez przewodnika, daleki w swoim osamotnieniu, blisko o pół godziny od stacji Epreville, bardzo odległy od ostatnich domów Quelledholme. (Co się tyczy nazwy Epreville, nie mogłem uzgodnić książki proboszcza z objaśnieniami Brichota. Wedle jednego, Epreville to była dawna *Spreuilla*; drugi podawał etymologję *Aprivilla*.) Za pierwszym razem wsiedliśmy do kolejki w kierunku przeciwnym Féterne, to znaczy w stronę Grattevaste. Ale był wielki upał, tak iż ciężko było jechać zaraz po śniadaniu. Byłbym raczej wolał nie opuszczać domu tak wcześnie; rozżarzone i skwarne powietrze skłaniało do spoczynku i chłodu. Wypeł-

niało nasze pokoje — matki i mój — zależnie od ich położenia, różną temperaturą, niby kabiny kąpielowe. Gotownia mamy, ustrojona w festony przez słońce o olśniewającej i mauretańskiej białości, robiła wrażenie jakby ją wpuszczono w głąb studni, z powodu czterech tynkowanych ścian na które wychodziła, podczas gdy w samej górze, w próżnym kwadracie, niebo, po którym ślizgały się miękkie i spiętrzone fale, zdawało się (z powodu ochoty jaką budziło) sadzawką bądź położoną na jakim tarasie, bądź widzianą na wywrót w lustrze przymocowanym do okna, pełną błękitnej wody przeznaczonej na ablucje.

Mimo tego żaru, wybraliśmy się na pociąg odchodzący o pierwszej. Ale Albertynie było bardzo gorąco w wagonie, bardziej jeszcze w drodze pieszo; bałem się, aby się nie zziębiła siedząc potem nieruchomo w tym wilgotnym parowie, dokąd nie dochodzi słońce. Z drugiej strony, zdawszy sobie sprawę, od czasu pierwszych naszych wizyt u Elstira, że ona oceniłaby nie tylko zbytek ale nawet pewien komfort, którego pozbawiał ją brak pieniędzy, porozumiałem się z przedsiębiorcą z Balbec, aby codzień przysyłał po nas powóz. Aby było mniej gorąco, jechaliśmy lasem Chantepie. Niewidzialność niezliczonych ptaków — niektórych nawpół morskich — nawołujących się koło nas w drzewach, dawał to samo wrażenie spokoju, jakie się ma z zamkniętymi oczami. Siedząc obok Albertyny, okolony jej ramionami w głębi powozu, słuchałem tych Oceanid. I kiedy przypadkiem spostrzegłem którego z tych muzyków przemykających się z jednego liścia pod drugi, związek między nim a jego śpiewem był tak nieuchwytny, że zaledwie mogłem dojrzeć przyczynę śpiewu w małym ciałku podskakującym, pokornym, dziwnym i pozbawionym spojrzenia.

Powóz nie mógł nas zawieźć aż do kościoła. Kazałem stanąć tuż za Quetteholme i żegnałem się z Albertyną. Bo ona przestraszyła mnie, mówiąc o tym kościele, jak o innych zabytkach, o pewnych obrazach: „coby to była za przyjemność oglądać to z tobą!” Nie czułem się zdolny dać jej tej przyjemności. Odczuwałem ją wobec pięknych rzeczy jedynie wówczas gdy byłem sam, lub udawałem że jestem sam i milczałem. Ale skoro ona sądziła że mogłaby doznać dzięki mnie wrażeń artystycznych nie udzielających się w ten sposób, uważałem za przeczniejsze pożegnać ją, powiedzieć że przyjadę po nią przed wieczorem, ale że teraz muszę wracać powozem aby jechać do pani Verdurin lub do Cambremérów, lub nawet aby spędzić godzinę z mamą w Balbec — ale nigdy dalej. Przynajmniej w pierwszych czasach. Bo kiedy Albertyna powiedziała raz przez kaprys: „To głupie, że natura tak źle rozmieściła wszystko, że kościół Saint-Jean de la Haise jest z jednej strony a la Raspelière z drugiej i że się jest na cały dzień uwięzionym w miejscu, które się wybrało”; wówczas, z chwilą gdy nadszedł toczek i woal, zamówiłem, na swoje nieszczęście, samochód w Saint-Fargeau (*Sanctus Ferreolus*, wedle książki proboszcza). Albertyna, nie wiedząc o niczym, przyszedłszy do mnie, zdziwiła się, słysząc przed hotelem warczenie motoru; wpadła w zachwyty, kiedy powiedział, że to dla nas. Zaprowadziłem ją na chwilę do pokoju. Skakała z radości.

— Pojedziemy z wizytą do Verdurinów — rzekła.

— Tak, ale lepiej byłoby, żebyś nie jechała w tym stroju, skoro masz mieć swoje auto. O, tak będzie ci bardziej do twarzy.

I wyjąłem toczek i woal z ukrycia.

— To dla mnie! Och, jakiś ty milusi — krzyknęła, rzucając mi się na szyję.

Aimé, który spotkał nas na schodach, dumny z elegancji Albertyny i z naszego środka lokomocji (bo auta były dość rzadkie w Balbec), odprowadził nas z widoczną przyjemnością. Albertyna pragnęła, aby ją widziano w nowej toalecie; prosiła żebym kazał spuścić daszek, który podniesie się potem abyśmy mogli być swobodnie razem.

— No, ty — rzekł Aimé do szofera, którego nie znał zresztą i który się nie ruszył — nie słyszysz, że masz spuścić daszek? — Bo Aimé, wyrobiony w życiu hotelowym, w którym zdobył sobie zresztą wybitne stanowisko, nie był tak nieśmiały jak stangret, dla którego Franciszka była „damą”; mimo braku uprzedniej prezentacji, tykał bez ceremonii plebejuszów, których nigdy wprzód nie widział, przyczem trudno było osądzić, czy to jest z jego strony arystokratyczna wzgarda czy ludowe braterstwo.

— Nie jestem wolny — odparł szofer, który mnie nie znał. Zamówiono mnie dla panny Simonet. Nie mogę jechać z tym panem.

Aimé wybuchnął:

— Ech! słuchaj ty ciemnego — odparł szoferowi, którego przekonał natychmiast; — to jest właśnie panna Simonet, a ten pan, co ci każe spuścić budę, to właśnie twój gość.

Że zaś Aimé, mimo iż nie mając osobiście sympatji do Albertyny, dumny był za mnie z jej toalety, mruknął do szofera: „Woziłbyś codzień takie księżniczki, gdybyś tylko mógł, hę?”

Tym pierwszym razem, nie sam udałem się do la Raspelière, jak codzień gdy Albertyna malowała; postanowiła jechać tam ze mną. Myślała, że moglibyśmy się zatrzymać tu i ówdzie po drodze, ale nie przyszło jej na myśl, abyśmy mogli zacząć od jazdy do Saint-Jean de la Haise, to znaczy w innym kierunku, tem samem zrobić spacer, który zdawał się przeznaczony na inny dzień. Otóż, dowiedziała się od szofera, że niema nic łatwiejszego niż udać się do Saint-Jean, gdzie będziemy w dwadzieścia minut, i że moglibyśmy tam zostać, gdybyśmy chcieli, kilka godzin, albo zapuścić się o wiele dalej, bo z Quetteholme do la Raspelière nie byłoby więcej niż 35 minut. Zrozumieliśmy to z chwilą gdy wehikuł, zerwawszy się z miejsca, przebył jednym susem dwadzieścia kroków wybornego konia. Odległości są jedynie stosunkiem przestrzeni do czasu i zmieniają się wraz z nim. Trudność, jaką nam sprawia przeniesienie się w jakieś miejsce, wyrażamy w systemie mil, kilometrów, który staje się fałszywy z chwilą gdy się ta trudność zmniejsza. Sztuka również zmienia się przez to, skoro wieś, która zdawała się położona w różnym świecie od jakiejś innej, staje się jej sąsiadką w krajobrazie o zmienionych wymiarach. W każdym razie, wiadomość że istnieje może wszechświat, w którym 2 a 2 czynią 5 i gdzie linja prosta nie jest najkrótszą drogą łączącą dwa punkty, o wiele mniej zdziwiłaby Albertynę, niż oświadczenie szofera, że łatwo jest w ciągu popołudnia być w Saint-Jean i w la Raspelière, w Douville i w Quetteholme, w Saint-Mars le Vieux i w Saint-Mars le Vêtu, w Gourville i w Balbec le Vieux, w Tourville i w Féterne — miejscowościach dotąd równie hermetycznie uwieczonych i zamkniętych w komórkach oddzielnych dni jak niegdyś Méséglise i Guermantes; miejscowościach na których te same oczy nie mogły spocząć w ciągu jednego popołudnia, a które, oswobodzone teraz przez olbrzyma w siedmiomilowych butach, skupiły dokoła godziny podwieczorku swoje wieże i dzwonnice, stare ogrody, które skwapliwie odsłonił sąsiedni las.

Przybywszy do stóp drogi na Corniche, auto puściło się pod górę, z przeciągłym hałasem, podobnym do szmeru ostrzonego noża, podczas gdy zniżające się morze rozszerzało się u naszych stóp. Stare i sielskie chaty Montsurvent nadbiegły tuląc do siebie krzewy winne lub różane; świerki la Raspelière, rozkolysane bardziej niż przy wieczornym wietrze, biegały na wszystkie strony aby nas uniknąć, a nowy lokaj, którego jeszcze nigdy nie widziałem, wybiegł na ganek aby nam otworzyć drzwi, podczas gdy syn ogrodnika, zdradzając przedwczesne skłonności, pochłaniał oczami motor. Ponieważ to nie był poniedziałek, nie wiedzieliśmy czy zastaniemy panią Verdurin, bo z wyjątkiem tego dnia kiedy przyjmowała, niebezpiecznie było odwiedzać ją znienacka. Bezwątpienia, siedziała w domu „w zasadzie”, ale to wyrażenie (którego pani Swann używała w czasie gdy i ona starała się stworzyć sobie „paczkę” i ściągnąć gości nie ruszając się z domu, choćby się jej to miało często nie opłacić, i które opacznie wyrażała przez „dla zasady”) oznaczało tylko ogólną regułę, tem samem podlegającą licznym wyjątkom. Nietylko bowiem pani Verdurin lubiła wyjeżdżać z domu, ale posuwała bardzo daleko obowiązki gospodyni i kiedy miała gości na śniadaniu, zaraz po kawie, likierach i cygarach (mimo chwili odrętwienia upałem i trawieniem, kiedy wołałoby się poprzez liście na tarasie patrzeć na okręt do Jersey, przesuwały się po emalii morza), program obejmował cykl spacerów, w trakcie których gości, siłą usadowionych w powozach, wiozło się mimo ich woli do któregoś z licznych „widoków” dokoła Douville. Ta druga część biesiady nie była zresztą (skoro już zdobyli się na wysiłek wstania od stołu i usadowienia się w powozach) niemila gościom; przygotowani już przez smakowite potrawy, przez dobre wina lub musujący jablecznik łatwo dawali się upoić wiatrowi od morza i wspaniałości widoków. Pani Verdurin obwoziła przybyszów niby po partjach (mniej lub więcej odległych) swojej posiadłości, których niepodobna było nie obejrzeć z chwilą gdy się było u niej na śniadaniu i których naodwrot nie poznałoby się, gdyby się nie było gościem „pryncypalki”. Ta pretensja do wyłącznej władzy nad spacerami, jak nad muzyką Morela a niegdyś Dechambre’a, oraz do wciągania krajobrazów w skład „paczki”, nie była zresztą tak niedorzeczna jakby się zrazu zdawało. Pani Verdurin drwiła sobie z braku gustu, jaki, wedle niej, Cambremerowie zdradzali



w umeblowaniu la Raspelière i w urządzeniu ogrodu, a również z ich braku inicjatywy w spacerach jakie podejmowali sami lub w towarzystwie gości. Tak samo jak, wedle pani Verdurin, la Raspelière zaczynała się stawać tem czem powinnaby być dopiero od chwili kiedy była siedzibą „jej klaniku”, tak samo twierdziła, że Cambremerowie, powtarzając wiecznie w swoim landzie, wzdłuż kolei żelaznej, nad brzegiem morza, jedyną brzydką drogę jaka istniała w okolicy, zamieszkiwali te strony od zawsze, ale ich nie znali. Było coś prawdy w tem twierdzeniu. Przez rutynę, przez brak wyobraźni i zubożenie na okolicę, która wydaje się oklepana bo jest tak bliska, Cambremerowie ruszali się z domu jedynie poto aby jechać zawsze w te same miejsca i tą samą drogą. Oczywiście, śmieli się serdecznie z pretensyj Verdurinów do pokazywania im ich własnych stron. Ale gdyby ich przyprzeć do muru, oni, a nawet ich stangret, niezdolni byłiby zawieźć nas we wspólnie, ustronne nieco miejsca, w które nas wiodł pan Verdurin, tu podnosząc barjerę jakiejś posiadłości prywatnej lecz opustoszałej, gdzie ktoś inny wzdragałby się wtargnąć, ówdzie wysiadając z powozu aby iść pieszo drogą niemożliwą dla wehikułu — wszystko z niezawodną nagrodą cudnego widoku. Powiedzmy zresztą, że ogród w la Raspelière był poniekąd skrótem wszystkich spacerów na wiele kilometrów dokoła; raz z racji wysokiego położenia, z widokiem z jednej strony na dolinę, z drugiej na morze; następnie, bo nawet z jednej strony, od strony morza naprzykład, wycięto wśród drzew perspektywę w ten sposób, że z jednego miejsca obejmowało się taki horyzont, z drugiego znów inny. Przy każdym z tych punktów była ławka; siadało się naprzemian tam skąd było widać Balbec, albo Parville, albo Doville. I nawet w jednym i tym samym kierunku umieszczano ławki to wysunięte ku skarpię wybrzeża, to znów bardziej cofnięte. Patrząc z dalszych ławek, miało się przed sobą pierwszy plan zieleni, oraz horyzont, który już zdawał się możliwie najszerszy, ale który powiększał się jeszcze nieskończenie, skoro, idąc ścieżką, doszło się do następnej ławki, skąd oko ogarniało cały krąg morza. Stamtąd słyszało się wyraźnie szum fal, nie dochodzący natomiast do głębszych partyj ogrodu, gdzie fale było jeszcze widać, ale już ich nie było słycać. Te miejsca wypoczynku nosiły w la Raspelière dla państwa domu nazwę „widoków”. I w istocie, skupiały dokoła zamku najpiękniejsze „widoki” sąsiednich okolic, plaż lub lasów, widzianych w znacznem pomniejszeniu wskutek odległości, tak jak Hadrian zgromadził w swojej willi pomniejszenia najslawniejszych budowli rozmaitych krajów. Nazwa towarzysząca słowu „widok” nie była koniecznie nazwą miejscowości na wybrzeżu, ale często nazwą miejscowości na przeciwległym brzegu zatoki, którą oglądało się jakgdyby w ramie, mimo rozległości widoku. Tak samo jak się brało z biblioteki pana Verdurin książkę aby iść godzinkę poczytać przy „widoku Balbec”, tak samo, kiedy była pogoda, szło się na likiery do „widoku Rivebelle”, pod warunkiem aby nie było zbytniego wiatru, bo mimo zasłony drzew powietrze było tam ostre.

Mówiliśmy o spacerach powozem, które pani Verdurin organizowała na popołudnia. Jeżeli za powrotem pryncypalka zastała bilet jakiegoś światowca bawiącego przelotnie nad morzem, udawała radość, ale była w rozpaczę że ją minęła wizyta i kazała corychlej mężowi prosić przybyśza na obiad na najbliższą środę. (Wówczas przyjeżdżano jeszcze tylko dla obejrzenia „domu”, lub dla nieobowiązującego poznania na jeden dzień kobiety, której salon artystyczny był sławny, ale *niemożliwy* w Paryżu). Ponieważ często turysta musiał wyjechać wcześniej lub obawiał się późnego powrotu, pani Verdurin ustaliła, że w soboty zastanie się ją zawsze w porze podwieczorku. Te podwieczorki nie były zbyt liczne; znałem w Paryżu świetniejsze, u księżnej Marji de Guermantes, pani de Gallifet lub pani d’Arpajon. Ale właśnie tu nie był Paryż i piękno ramy podnosiło dla mnie nietylko urok zebrania ale i jakość gości. Spotkanie jakiegoś światowca, które w Paryżu nie sprawiało mi żadnej przyjemności, tu, w la Raspelière, dokąd ów gość przybył zdaleka przez Féterne lub przez las Chantepie, zmieniało swój charakter i wagę, stawało się miłym zdarzeniem. Czasami był to ktoś, kogo znałem bardzo dobrze i dla kogo nie zrobiłbym ani kroku, aby go spotkać np. u Swannów. Ale nazwisko jego inaczej brzmiało na tym urwistym brzegu, jak nazwisko aktora, oglądanego często w teatrze, inaczej brzmi wydrukowane odmiennym kolorem na afiszu galowego przedstawienia, gdzie sława jego mnoży się nagle przez niezwykłość kontekstu. Ponieważ na wsi odpada wiele ceremonij, gość pozwalał sobie często sprowadzić przyjaciół u których mieszkał, tłumacząc się pochichu przed panią Verdurin tem, że, mieszkając u nich, nie mógł ich opuścić; naodwrot zaś gospodarzom swoim fundował niejako w monotonii życia plażowego tę rozrywkę,

wprowadzając ich w inteligentne kółko, dając sposobność ujrzenia wspaniałej rezydencji i spożycia wybornego podwieczorku. Stwarzało to zaraz zebranie kilkorga osób, jakotako wartościowych; otóż, jeżeli skrawek ogrodu z paroma drzewami, który wydałby się mizerny na wsi, nabiera niezwykłego uroku przy avenue Gabriel lub ulicy de Monceau, gdzie tylko multimilionerzy mogą sobie na niego pozwolić, naodwrot znakomitości drugoplanowe na raucie w Paryżu nabierały pełnej wartości w poniedziałek popołudniu w la Raspelière.

Ledwie usiedli dokoła stołu nakrytego czerwono haftowanym obrusem, pod międzyscieżkami „*en camaïeu*”, podawano im placek normandzki, kruche ciasto, placki w kształcie łódki wypełnione koralowymi wiśniami, inne zwane „dyplomatami”; i natychmiast owi goście, znalazłszy się w pobliżu głębokiej czary lazuru, na którą otwierały się okna i której nie podobna było nie widzieć równocześnie z nimi, ulegali głębokiemu przeobrażeniu, zmieniającemu ich w coś cenniejszego. Co więcej, zanim się ich nawet ujrzało, kiedy się przybywało w poniedziałek do pani Verdurin, ludzie, którzy w Paryżu znudzonem spojrzeniem obejmowali wytworne zaprzęgi przed wspaniałym pałacem, tu czuli że im serce bije żywiej na widok paru lichych dorożek pod świerkami la Raspelière. Niewątpliwie, było to stąd, że ta wiejska rama była inna; dzięki tej transpozycji, wrażenia światowe odzyskały świeżość. Było to także dlatego, że lichy powozik wynajęty dla odwiedzenia pani Verdurin łączył się z pojęciem pięknego spaceru i poważnego „ryczałtu” zgodzonego z woźnicą, który zażądał „tyle” za cały dzień. Ale ciekawość, lekko zaostrzona obecnością gości jeszcze nie podobnych do zidentyfikowania, płynęła także stąd, że każdy pytał sam siebie: „Kto to może być taki?” — pytanie, na które trudno było odpowiedzieć, nie wiedząc kto mógł zjechać na tydzień do Cambremerów lub gdzieindziej, a które zawsze lubimy sobie zadawać w sielskim i samotnym życiu, gdzie spotkanie ludzkiej istoty oddawna nie widzianej lub poznanie kogoś nieznanego przestaje być ową rzeczą uprzykrzoną jaką jest w Paryżu i rozkosznie przerywa pustkę samotnością, w której nawet godzina poczty staje się czemś milem.

W dniu kiedyśmy przybyli autem do la Raspelière, ponieważ to nie był poniedziałek, oboje państwo Verdurin musieli być pastwą tej potrzeby widzenia ludzi, która nawiedza tak mężczyzn jak kobiety i budzi ochotę wyskoczenia oknem w chorym, zamkniętym, zdala od swoich, celem kuracyjnej izolacji. Bo nowy służący, o bardziej chyżych stopach i już oswojony ze światowymi formułami, odpowiedziawszy nam, że o ile pani nie wyszła, musi być przy „widoku Doville” i że „pójdzie popatrzeć”, wrócił natychmiast oznajmić, że pani prosi.

Zastaliśmy panią Verdurin trochę rozczochraną, bo wracała z ogrodu, z podwórka i z sadu, gdzie karmiła swoje pawie, kury, szukała jaj, rwała owoce i kwiaty dla przystrojenia stołu, przez który biegła dróżka przypominająca w miniaturze aleję parkową; ale z tą różnicą, że na stole skupiała jedynie rzeczy użyteczne i smaczne; dokoła bowiem innych darów ogrodu, jak gruszki, jajka ubite na pianę, wznosiły się wysokie łodygi floksów, goździków, róż i lwich paszczy, między którymi niby między nabożnymi i kwitnącymi drogowskazami widziało się na morzu statki, przesuujące się za szybą.

Ze zdumienia, jakie, na widok Albertyny i mnie, okazali państwo Verdurin (porzucając kwiaty po to aby witać oznajmionych gości), zrozumiałem, że nowy służący, pełen zapału ale jeszcze nie oswojony z moim nazwiskiem, źle je powtórzył i że pani Verdurin, słysząc nazwisko nieznanych osób, kazała i tak prosić, czując potrzebę widzenia byle kogo. Nowy służący patrzył z drzwi na tę scenę, aby sobie zdać sprawę z roli, jaką odgrywamy w tym domu. Poczem oddalił się pędem, bo był tam w służbie dopiero od wczoraj.

Kiedy Albertyna dosyta pokazała Verdurinom toczek i woal, wpiła we mnie wzrok, aby mi przypomnieć, że nie mamy zbyt wiele czasu na to cośmy sobie planowali. Pani Verdurin chciała nas przetrzymać do podwieczorku, wymówiliśmy się. Nagle wyłonił się projekt, który unicestwiłby wszystkie rozkosze, jakie sobie obiecywałem po spacerze z Albertyną. „Pryncypałka”, nie mogąc się zdecydować opuścić nas lub może wyrzec się nowej rozrywki, zaprzęgnęła jechać z nami. Oddawna przyzwyczajona że tego rodzaju propozycje z jej strony nie budzą entuzjazmu, widocznie nie pewna czy nam sprawi przyjemność, ukryła swoją nieśmiałość pod nadmiarem pewności siebie. Komunikując nam swoje intencje i nie dopuszczając nawet myśli aby odpowiedź mogła być wątpliwa, nie spytała nas, ale oznajmiła mężowi, tak jakby nam wyświadczała łaskę: „Odprowa-

dżę ich”. Równocześnie przystroiła usta uśmiechem, nie będącym ściśle jej własnością; uśmiechem jaki widywałem już u pewnych osób, kiedy filuternie mówiły do Bergotte’a: „Kupiłem pańską książkę, tak drogi panie, tak”; jednym z tych kolektywnych, uniwersalnych uśmiechów, które, w razie zapotrzebowania — tak jak się posługujemy koleją żelazną lub wozami meblowymi — ludzie wypożyczają sobie, z wyjątkiem jednostek bardzo wyrafinowanych, jak Swann lub p. de Charlus, na których wargach nigdy nie widziałem tego uśmiechu.

Z tą chwilą, wizyta była dla mnie zatruta. Udałem, że nie zrozumiał. Po chwili, stało się jasne, że i p. Verdurin zabierze się z nami.

— Może to będzie za daleko dla pana Verdurin — rzekłem.

— Ale nie — odparła pani Verdurin uspokajającym i rozbawionym tonem; mąż mówi, że mu będzie bardzo miło powtórzyć z młodymi tę drogę, którą niegdyś tyle razy odbywał; w potrzebie siądzie obok wattmana, to go nie przeraża, a potem wrócimy oboje cnotliwie kolejką, jak dobre, stare małżeństwo. Patrzcie tylko, jaką ma zachwyconą minę.

Mówiła o nim niby o starym wielkim malarzu, który, dobroduszny i młodszy od młodych, bazgrze coś, aby zabawić wnuczeta. Smutek mój pogłębiało to, że Albertyna nie zdawała się go podzielać; widocznie bawiła ją myśl takiego spaceru w towarzystwie państwa Verdurin. Co do mnie, nadzieja rozkoszy, której spodziewałem się z nią kosztować, była tak despotyczna, że nie chciałem dać pryncypałce zepsuć jej sobie; wymyślałem jakieś kłamstwa, usprawiedliwione natręctwem pani Verdurin, ale udaremnione, niestety, przez Albertynę.

— Mamy przecie wizytę przed sobą — rzekłem.

— Co za wizytę? — spytała Albertyna.

— Wytłumaczę ci, nie możemy się od tego uchylić.

— No więc, zaczekamy na was — rzekła pani Verdurin, zrezygnowana na wszystko.

W ostatniej chwili, bolesne uczucie że mi wydzierają tak upragnione szczęście, dało mi odwagę impertynencji. Odmówiłem wręcz, zwierając się do ucha pani Verdurin, że Albertyna ma zmartwienie i że pragnie w tym przedmiocie zasięgnąć mojej rady; musimy tedy koniecznie być sami. Pryncypałka przybrała ton obrażony.

— Dobrze, nie pojedziemy — rzekła do mnie głosem drżącym z gniewu.

Uczulem, że jest tak obrażona, iż, aby wyglądało że mięknię, natrąciłem:

— Ale możeby się dało...

— Nie — odparła ze zdwojoną wściekłością — kiedy ja mówię nie, to nie.

Myślałem, że to jest zerwanie, ale odwołała nas od drzwi, aby nam absolutnie polecić najbliższą środę i żebyśmy nie przyjeżdżali tą maszyną, która jest niebezpieczna w nocy, ale pociągiem, razem z całą gromadą. I jeszcze kazała zatrzymać auto już w ruchu, bo służący zapomniiał włożyć do auta placka i ciasteczek, które kazała zapakować dla nas.

Ruszyliśmy, eskortowani przez chwilę domkami, które nadbiegły wraz, strojne w kwiaty. Fizjognomja okolicy wydawała się nam całkiem zmieniona, tak dalece w topograficznym obrazie, jaki sobie tworzymy o każdym pejzażu, pojęcie przestrzeni odgrywa zgoła nie najważniejszą rolę. Powiedzieliśmy, że pojęcie czasu bardziej je rozsuwa. I też nie ono jedno. Pewne miejsca, które widzujemy zawsze oddzielnie, nie mają dla nas wspólnej miary z resztą, są prawie poza światem, jak owi ludzie, których znaliśmy w specjalnych okresach naszego życia, w wojsku, albo w dzieciństwie, i których nie wiążemy z niczem. Z pierwszego roku mego pobytu w Balbec, pamiętałem wzgórze, gdzie pani de Villeparisis lubiła nas wozić, bo stamtąd widać było tylko wodę i las, nazywało się to Beaumont. Ponieważ droga, którą zwykle kazała tam jechać i która się jej zdawała najładniejsza z powodu starych drzew, pięła się cały czas pod górę, powóz musiał jechać stępa i bardzo długo. Przybywszy na szczyt wzgórza, wysiadaliśmy, przechadzaliśmy się trochę, wsiadaliśmy do powozu i wracaliśmy tą samą drogą, nie spotkawszy żadnej wioski, żadnego dworu. Wiedziałem, że Beaumont to coś bardzo ciekawego, bardzo dalekiego, bardzo wysokiego; nie miałem najmniejszego pojęcia o kierunku w którym się to znajduje, ile że nigdy nie jechałem przez Beaumont udając się gdzieindziej; to był zresztą dobry kawał drogi powozem. Leżało to Beaumont oczywiście w tym samym departamencie (lub w tej samej prowincji) co Balbec, ale znajdowało się dla mnie na innym planie, zażywało specjalnego przywileju exterytorjalności. Ale auto, które nie szanuje żadnej tajemnicy, ledwie minąwszy Incarville, którego domy miałem jeszcze w oczach, wpadło na zбочce

kończące się w Parville (*Paterni villa*): widząc morze z wysokości na którejsmy się znaleźli, spytałem, jak się nazywa ta miejscowość; ale zanim jeszcze szofer zdążył mi odpowiedzieć, poznałem Beaumont, obok którego przejeżdżałem, nie wiedząc o tem, za każdym razem kiedym jechał kolejką, bo było o dwie minuty od Parville. Jak oficer z mojego pułku, któryby mi się zdawał specjalną istotą, zbyt życzliwy i prosty aby być z wielkiej rodziny, zbyt odległy już i tajemniczy aby być poprostu z wielkiej rodziny, a o którym bym się dowiedział, że jest szwagrem lub kuzynem osób, z którymi świeżo spotkałem się gdzieś na obiedzie — tak Beaumont, nagle złączone z miejscowościami od których zdawało mi się tak odrębne, straciło swoją tajemnicę i zajęło miejsce w okolicy, każąc mi myśleć ze zgrozą, że pani Bovary i Sanseverina wydałyby się może istotami podobnymi do innych, gdybym je spotkał gdzieindziej niż w zamkniętej sferze powieści.

Może się zdawać, że moje upodobania do czarodziejskich podróży koleją powinny by mnie wstrzymać od dzielenia zachwyty Albertyny nad samochodem, który wiedzie nawet chorego tam gdzie ów chory chce, i nie pozwala uważać — jak to czyniłem dotąd — położenia za indywidualną cechę niewzruszonych pięknością, za ich niezastąpioną istotę. I bez wątpienia auto nie czyniło z tego położenia — jak niegdyś kolej przypadkowości zwykłego życia, niemal idealnego przy wyjeździe, idealnego nawet w momencie przybycia, przybycia do tej wielkiej budowli, gdzie nie mieszka nikt i która nosi jedynie nazwę miasta — do dworca. (Dworzec kolei — jako cel — przyrzeka niejako dostępność, której staje się materjalizacją). Nie, auto nie wiodło nas równie czarodziejsko do miasta, którebyśmy widzieli zrazu w całości streszczonej w jego nazwie, ze złudzeniami widza w teatrze. Wprowadzało nas w kulisy ulic, zatrzymywało się dla uzyskania jakiejś informacji od przechodnia. Ale jako kompensatę tego poufalego stopniowania ma się bodaj wahania szofera niepewnego drogi, cofającego się raz po raz, krzyżowania się perspektyw, każące grać zamkowi w „cztery kąty” z pagórkami, kościołem i morzem podczas gdy się zbliżamy do niego, mimo że się napróżno kryje pod odwiecznymi drzewami; te coraz to ciasniejsze kręgi, jakie opisuje samochód dokoła urzeczzonego miasta, które uciekało we wszystkich kierunkach aby umknąć i na które wreszcie wali wprost, przez dolinę, gdzie ono leży rozciągnięte na ziemi; tak iż samochód, napozór odzierając to położenie z tajemnicy kurjerskich pociągów, daje przeciwnie wrażenie, że je odkrywamy, że je określamy sami jak cyrklem, że dzięki niemu miłośniej badawczą ręką, z subtelniejszą precyzją, czujemy prawdziwą geometrię, poetycki wymiar ziemi.

Jednej rzeczy na nieszczęście nie wiedziałem w tej chwili i dowiedziałem się aż w dwa lata później; mianowicie że jednym z klientów mego szofera był p. de Charlus; że Morel, mając polecone płacić mu (przyczem chował część pieniędzy dla siebie, w ten sposób że kazał szoferowi liczyć trzykrotną i pięciokrotną ilość kilometrów), bardzo się z nim zaprzyjaźnił (udając przy ludziach, że go nie zna) i odbywał jego autem dalekie wycieczki. Gdybym był to wiedział wówczas, i to iż zaufanie jakiego niebawem Verdurinowie nabrali do tego szofera, pochodzi, bez ich wiedzy, z tego źródła, zdołałbym może uniknąć wielu zgrzytów mego przyszłorocznego paryskiego życia, wielu nieszczęść wiążących się z Albertyną. Ale ja o tem nie miałem pojęcia. Same w sobie, przejażdżki pana de Charlus z Morelem nie interesowały mnie bezpośrednio. Ograniczały się zresztą najczęściej do jakiegoś śniadania lub obiadu w restauracji na wybrzeżu, gdzie p. de Charlus uchodził za starego zrujnowanego lokaja, a Morel, który miał polecone płacenie rachunków, za nazbyt łaskawego panicza. Opowiem jedną z tych biesiad, zdolną dać pojęcie o innych. Było to w restauracji, mieszczącej się w podłużnym budynku w Saint-Mars-le-Vêtu.

— Czy nie możnaby tego sprzątnąć — spytał p. de Charlus Morela, aby się nie zwracać wprost do garsonów. Owo „to”, to były trzy zwiędłe róże, którymi troskliwy gospodarz uważał za właściwe ozdobić stół.

— Owszem... — odpowiedział Morel zakłopotany. — Pan nie lubi róż?

— Moja prośba dowodziłaby przeciwnie, że je lubię, bo tu przecie nie ma żadnych róż (Morel uczynił gest zdziwienia); ale istotnie, nie przepadam za różami. Jestem dość wrażliwy na nazwy; z chwilą zaś, gdy trafi się na ładną różę, dowiaduje się człowiek, że ona się nazywa *baronne de Rothschild* albo *Maréchale Niel*; to wystarcza aby zmrozić. Czy ty lubisz nazwy, nazwiska, tytuły? Czyś znalazł ładne tytuły dla swoich utworów?

— Jeden nazywa się *Poemat smutku*.

— To ohydne — odparł p. de Charlus głosem ostrym i świszczącym jak policzek. — Prosiłem o szampan? — rzekł do garsona, który sądził iż właśnie go podaje, stawiając przed klientami dwa kieliszki napełnione musującym winem.

— Ależ, proszę pana...

— Zabierzcie tę okropność, która nie ma żadnego związku z najgorszym szampnem. To środek na wymioty, zwany *cup*, gdzie zazwyczaj moczy się trzy zgniłe truskawki w mieszaninie octu i wody sodowej. Tak — ciągnął zwracając się do Morela — ty najwidoczniej nie wiesz, co to jest tytuł. A nawet w interpretacji tego co grasz najlepiej, nie spostrzegasz strony medjumicznej.

— Jak pan powiada? — spytał Morel, który, nie rozumiawszy absolutnie nic ze słów barona, bał się stracić jakąś pożyteczną informację, jak na przykład zaproszenie na śniadanie. Ponieważ p. de Charlus nie raczył uznać tego „jak pan powiada?” za pytanie, Morel, nie otrzymawszy odpowiedzi, uważał za właściwe odmienić rozmowę i dać jej charakter zmysłowy:

— Och, niech pan patrzy na tę blondaskę, sprzedającą kwiaty których pan nie lubi; to dziewczę ma z pewnością jakąś młodą przyjaciółkę. A ta stara, która je obiad w głębi, także.

— Ale skąd ty wiesz to wszystko? — spytał p. de Charlus, oczarowany wszechwiedzą Morela.

— Och, w sekundę zgaduję takie rzeczy. Gdybyśmy się tak przeszli we dwójkę w tłumie, zobaczyłby pan, że nie pomyliłbym się ani dwóch razy.

I ktoby w tej chwili widział Morela i jego dziewczęcą minę w pełni męskiej piękności, zrozumiałby nieokreśloną wymowę, która sygnalizowała go pewnym kobietom, tak jak te kobiety jemu. Miał ochotę wyparować Jupiena, w mglistej ochocie pomnożenia swojego „*fixe*” sumami, które, jak przypuszczał, ex-krawiec wyciągał z barona.

— Na żygolakach znam się jeszcze lepiej, oszczędził bym panu wszelkich pomyłek. Niedługo będzie jarmark w Balbec, znaleźlibyśmy to i owo. A w Paryżu, zobaczyłby pan, dopiero by się pan zabawił!

Ale dziedziczna ostrożność lokajka kazała mu dać inny tok zdaniu, które już rozpoznał. Tak iż p. de Charlus myślał że wciąż chodzi o dziewczęta.

— Widzi pan — mówił Morel, pragnąc, w sposób mniej dla siebie kompromitujący (mimo że w gruncie bardziej niemoralny) podniecić zmysły barona — moim marzeniem byłoby znaleźć dziewczynę bardzo czystą, zyskać jej miłość i uszczknąć cnotę.

P. de Charlus nie mógł się wstrzymać, aby nie uszczypnąć czule Morela w ucho, ale dodał naiwnie:

— Na co by ci się to zdało? Jeśli byś ją naruszył, musiałbyś się z nią żenić.

— Żenić się! — wykrzyknął Morel, który odczuł podniecenie barona, nie miał zaś świadomości, że mówi z człowiekiem w sumie bardziej skrupulatnym niż sądził. — Żenić się? Bujda! Przyrzekłbym jej, ale po załatwieniu operacyjki puściłbym ją kantem jeszcze tego wieczora.

Kiedy panu de Charlus fikcja mogła dać przelotną zmysłową rozkosz, zwykł był się z nią godzić, gotów jednak cofnąć swoją zgodę w chwilę później, gdy rozkosz wygaśnie.

— Doprawdy, zrobiłbyś to? — rzekł do Morela, śmiejąc się i przysuwając się bliżej.

— I jak! — rzekł Morel, widząc że nie razi barona szczerością swoich istotnych pragnień.

— To niebezpieczne — rzekł p. de Charlus.

— Spakowałbym rzeczy zawczasu i dałbym nogę nie zostawiając adresu.

— A ja? — spytał p. de Charlus.

— Zabrałbym pana z sobą, rozumie się — skwapliwie powiedział Morel, który nie pomyślał o tem coby się stało z baronem, jako że to była najmniejsza jego troska. O, wie pan, jest dziewczyna, któraby mi się bardzo nadała; szwaczucia, ma sklep w pałacu księcia Błażeja.

— Córka Jupiena — wykrzyknął baron w chwili gdy się zjawił garson. — Och, za nic! — dodał, czy że obecność trzeciej osoby ostudziła go, czy że nawet w tego rodzaju czarnych mszach, w których lubował się plugawieniem rzeczy najświętszych, nie zdolny był poświęcić osób, które darzył sympatią. — Jupien jest zacny człowiek, ta mała jest urocza, to byłoby szkaradnie skrzywdzić ich.

Morel uczuł iż zaszedł za daleko i zamilkł, ale spojrzenie jego dalej ściagało w próżni dziewczynę, przy której pragnął swego czasu być przezemnie tytułowany per „drogi wielki artysto” i u której zamówił kamizelkę. Bardzo pracowita z natury, dziewczyna nie wyjechała na wakacje, ale dowiedziałem się później, że podczas gdy skrzypek bawił w okolicach Balbec, ona nie przestawała myśleć o jego pięknej twarzy, uświetnionej w jej oczach tem, że widząc Morela ze mną, wzięła go za „panicza”.

— Nigdy nie słyszałem samego Chopina — rzekł baron — a przecie mogłem go słyszeć; brałem lekcje u Stamatiego, ale zabronił mi chodzić do ciotki Chimay, aby słuchać mistrza Nokturnów.

— Cóż za cymbał! — wykrzyknął Morel.

— Przeciwnie — odparł świszczącym głosem p. de Charlus. — Dowiódł tem inteligencji. Zrozumiał, że ja, przy swojej wrażliwej naturze, byłbym uległ wpływowi Chopina. To nie ma znaczenia, wobec tego że bardzo młodo porzuciłem muzykę, jak wszystko inne. A zresztą, człowiek nadrabia wyobraźnią — dodał baron nosowym głosem, rozwlekając sylaby; — są zawsze ludzie którzy go słyszeli, którzy mogą dać pojęcie. Wreszcie Chopin był mi tylko pretekstem, aby wrócić do strony medjumicznej, którą ty zaniedbujesz.

Czytelnik zauważył, że po dygresji w języku pospolitym, styl pana de Charlus stał się nagle z powrotem równie wyszukany i wyniosły jak był zazwyczaj. Bo myśl, że Morel bez skrupułów „puściłby kantem” zgwałconą dziewczynę, dała mu nagle zakosztować kompletnej rozkoszy. Z tą chwilą, zmysły jego ukoili się na jakiś czas; sadysta (naprawdę medjumiczny), który zajął na chwilę miejsce Charlusa, znikł i wrócił głos prawdziwemu Charlusowi, pełnemu artystycznych wyrafinowań, wrażliwości, dobroci.

— Grałeś któregoś dnia transkrypcję XV kwartetu na fortepian, co już jest idjotyzm, bo nie ma rzeczy mniej fortepianowej. Przyrządzono go dla ludzi, których uszy rażą zbyt napięte struny ogłuchłego geniusza. Otóż właśnie ten mistycyzm, niemal cierpki, jest boski. W każdym razie, grałeś to bardzo lichy, zmieniając wszystkie tempa. Trzeba grać tak, jakbyś to komponował: młody Morel, dotknięty chwilową głuchotą i nieistniejącym geniuszem, trwa jakiś czas bez ruchu. Potem, o władnięty świętym szałem, gra, tworzy pierwsze takty: wyczerpany wysiłkiem, zapada się, strząsając wdzięczny pukiel włosów, aby oczarować panią Verdurin; co więcej, zyskuje w ten sposób czas, aby odnowić olbrzymią ilość szarej substancji zużytej na pityjskie wcielenie. Wówczas, odzyskawszy siły, porwany nowym i nadziemskim transem, rzuca się na boską niewygasłą frazę, którą berliński wirtuoz (zdaje się, że p. de Charlus określał w ten sposób Mendelsohna) miał niestrudzenie naśladować. Oto w jaki sposób — jedyny naprawdę transcendentalny i twórczy — będziesz to musiał zagrać w Paryżu.

Kiedy p. de Charlus dawał Morelowi wskazówki tego rodzaju, skrzypek był o wiele bardziej przerażony niż widząc jak garson zabiera wzgardzone róże i *cup*; zastanawiał się z niepokojem, jakie to wrażenie zrobi w „klasie”. Ale nie mógł się oddać tym refleksjom, bo p. de Charlus rzekł rozkazująco:

— Spytaj się garsona, czy ma chrześcijanki.

— Chrześcijanki?... Nie rozumiem.

— Widzisz, że jest pora na owoce, chodzi o gruszkę. Możesz być pewien, że pani de Cambremer, jako prawa hrabina d’Escarbagnas, ma te bonkretki. Pan Thibaudier posyła jej gruszki, a ona powiada: „*Voilà du bon chrétien, qui est fort beau*”.

— Nie, nie wiedziałem.

— Widzę, widzę, że ty nic nie wiesz. Jeżeliś ty nie czytał nawet Moliera... No i co, skoro, obok innych braków, nie umiesz rozkazywać, poproś poprostu o gruszki, które rodzą się właśnie w tych stronach: *Louise-Bonne d’Avranches*...

— Louise jak?...

— Zaczekaj, skoro jesteś tak niezdarny, ja sam zażądam innych, które wolę. Garson, macie tutaj *la Doyennee des Comices*? Charlie, powinienbyś przeczytać uroczy ustęp, jaki napisała o tej gruszce księżna Emilia de Clermont-Tonnerre.

— Nie, proszę pana, nie mamy.

— Macie *Triomphe de Jodoigne*?

— Nie, proszę pana.

— *Virginie-Dallet?* Nie? a *Passe-Colmar?* Nie, w takim razie, skoro nie macie nic, trzeba się nam zabierać. *Duchesse d'Angouleme* jeszcze nie jest żrała; chodź, Charlie, idziemy.

Nieszczęściem dla pana de Charlus, jego brak zrównoważenia, może przypuszczalna niewinność jego stosunków z Morelem, kazały mu się wysilać od tego czasu na obsypywanie skrzypka osobliwymi łaskami, których ten nie mógł zrozumieć i które natura jego, warjacka na swój sposób, ale niewdzięczna i małostkowa, mogła odpłacić jedynie oschłością lub brutalnością. Przejawy te, wciąż rosnące, grążyły pana de Charlus — niegdyś tak dumnego, teraz spłoszonego — w napadach prawdziwej rozpacz. Ujrzymy, jak w najmniejszych rzeczach, Morel, który uważał że sam stał się panem de Charlus, ale tyśiąć razy ważniejszym, fałszywie zrozumiał (biorąc je dosłownie) wyniosłe nauki barona w przedmiocie arystokracji. Powiedzmy poprostu na razie (podczas gdy Albertyna czeka na mnie w Saint-Jean de la Haise), że jeżeli było coś, co Morel stawiał powyżej urodzenia (i to było u niego w zasadzie dość szlachetne, zwłaszcza jak na człowieka, którego przyjemnością było polować na małe dziewczynki — „ani widu ani słyhu” — z szoferem), rzeczą tą była jego reputacja jako artysty i sąd jego klasy skrzypiec. Bez wątpienia, brzydkie było zapierać się ostentacyjnie barona, drwić sobie z niego, dlatego że Morel czuł w panu de Charlus całkowite oddanie. Podobnie ze mną: odkąd mu przyrzekłem sekret co do funkcji jego ojca u mojego wuja, zaczął mnie traktować z góry. Ale z drugiej strony firma dyplomowanego artysty — Morel — zdawała mu się czemś więcej od „nazwiska”. I kiedy p. de Charlus, w swoich marzeniach o platonicznej czułości, chciał go obdarzyć jednym z tytułów będących w posiadaniu jego rodziny, Morel stanowczo odmówił.

Kiedy Albertyna decydowała się przez rozsądek zostać w Saint-Jean de la Haise aby malować, zabierałem auto; wówczas, zanim wróciłem po nią, mogłem się puszczać nietylko do Gourville i do Féterne, ale do Saint-Mars le Vieux, nawet do Criquetot. Udając że jestem zajęty czem innym niż ona i że ją muszę opuszczać dla innych przyjemności, myślałem tylko o niej. Często jechałem nie dalej niż do wielkiej równiny nad Gourville, że zaś równina ta podobna jest nieco do tej, która się rozciąga powyżej Combray, w kierunku Méséglise, tedy nawet dość daleko od Albertyny myślałem z radością, że o ile moje spojrzenia nie mogą dobiec do niej, ten potężny i luby wiatr od morza, przepływający obok mnie i sięgający dalej od nich, dotrze, niewstrzymany niczem, aż do Quetteholme; poruszy gałęzie drzew kryjących kościół Saint Jean de la Haise w swojej zieleni, pieszcząc zarazem twarz mojej przyjaciółki; i w ten sposób stworzy podwójny węzeł między nami w tem rozprzestrzenionem bezkresie zaciszu, ale bez ryzyka, jak w owych grach dzieciennych, gdzie dwoje dzieci znajduje się chwilami poza wzajemnym zasięgiem głosu i wzroku, i gdzie, mimo że oddalone, są jednakże z sobą.

Wracałem temi drogami, skąd widać morze i gdzie niegdyś, zanim się zjawilo poprzez gałęzie, zamykałem oczy, aby sobie uświadomić iż to co mam ujrzeć, to jest skarżąca się macierz ziemi, miotająca się, jak w czasach gdy nie było jeszcze żywych istot, w obłądnym i wiekuistym ruchu. Teraz drogi te były dla mnie już tylko sposobem dotarcia do Albertyny; kiedym je poznawał, zupełnie takie same, wiedząc dokąd biegna prosto, gdzie skręca, przypominałem sobie, że jechałem niegdyś niemi, myśląc o pannie de Stermaria. I myślałem również, że tę samą niecierpliwosć co teraz w stosunku do Albertyny, odczuwałem w Paryżu, idąc ulicami któremi zwykła chodzić pani de Guermantes; te drogi nabierały dla mnie jakiejś głębokiej monotonji, uzmysławiały mi jakgdyby linję mojego charakteru. Było to naturalne, a jednak nie było obojętne; przypominały mi, że losem moim jest ścigać jedynie cienie, istoty których realność mieściła się przeważnie w mojej wyobraźni. Są takie jednostki — i ja należałem do nich od młodu — dla których wszelka wartość stała, dostępna sprawdzeniu, jak majątek, powodzenie, stanowisko, nie istnieje; trzeba im właśnie cieniów. Poświęcają dla nich resztę, wprawiają wszystko w ruch, do wszystkiego się uciekają, aby spotkać jakiś cień. Ale ten cień rozwiewa się; wówczas gonią za innym, choćby mieli wrócić potem do tamtego.

Nie pierwszy to raz szukałem Albertyny, dziewczyny ujranej przed paru laty nad morzem. Prawda że inne kobiety wcisnęły się między Albertynę pokochaną zrazu, a tę, z którą prawie nie rozstawałem się teraz; inne, zwłaszcza księżna Oriana. Ale, powie ktoś, poco było tyle się gryźć z powodu Gilberty, poco było zadawać sobie tyle trudu dla pani de Guermantes, skoro, kiedym się z nią zaprzyjaźnił, to jedynie poto, aby myśleć już nie

o niej, lecz wyłącznie o Albertynie. Swann byłby mógł przed śmiercią odpowiedzieć na to, on który był miłośnikiem cieniów.

Tak, drogi w Balbec pełne były tych cieniów, cieniów ściganych, zapomnianych, szukanym na nowo czasem dla jednego widzenia, poto aby dotknąć jakiegoś nierealnego życia, które natychmiast uciekało. Myśląc że te przydrożne drzewa, grusze, jabłonie, tamarzki przeżyją mnie, miałem uczucie, że mi dają radę abym się wreszcie wziął do pracy, zanim jeszcze wybiła godzina wiecznego spoczynku.

Wysiadłem z wehikułu w Quetteholme, biegłem stromym wąwozem, przebywałem strumień po kładce i znajdowałem Albertynę, malującą przed kościołem o mnóstwie wieżyczek, kolczastym i czerwonym, kwitnącym jak krzak róży. Jedyne tympan był gładki; na pogodnej kamiennej ścianie wykwiwały anioły, które wobec nas, młodej pary z XX wieku, wciąż odprawiały, ze świecami w ręku, obrzędy z wieku XIII. Ich kształty właśnie starała się Albertyna oddać na rozpiętym płótnie; naśladowując Elstira, machała szeroko pendzlem, starając się odtworzyć szlachetny rytm, który — jak rzekł wielki mistrz — czyni te anioły czemś tak odmiennym od wszystkiego co znał. Potem zbierała swoje rzeczy. Wsparci o siebie, wracaliśmy pod górę wąwozem, opuszczając kościółek równie spokojny co gdyby nas nie widział, nad słuchujący wiecznego szumu strumienia. Niebawem auto pomykało, wracając inną drogą niż ta którąśmy przyjechali. Przejeżdżaliśmy koło dumnej Marcouville. Na kościele w pół nowym w pół odnowionym, zachodzące słońce kładło swoją patynę, równie piękną jak patyna wieków. Poprzez tę patynę, widniały wielkie płaskorzeźby, jakgdyby poprzez warstwę płynu, pół ciekłą pół świetlną: Matka Boska, święta Elżbieta, święty Joachim, kąpali się jeszcze w nieuchwytnym prądzie, prawie na sucho, na powierzchni wody lub słońca. Wyłaniając się w gorącym pyłe, nowoczesne posągi wznosiły się na kolumnach aż do połowy złożonych zasłon zachodu. Przed kościołem rósł wielki cyprys niby w jakimś poświęconym zakolu. Wysiadaliśmy na chwilę aby nań popatrzeć i szliśmy kilka kroków. Albertyna miała żywą świadomość swego kapelusika z włoskiej słomki i jedwabnego woala (będących dla niej organicznym ośrodkiem dobrego samopoczucia) i czerpała z nich, obchodząc kościół dokoła, podniecie, wyrażającą się w zadowoleniu biernym, ale nie pozbawionym wdzięku. Ten woal i toczek były dla mnie jedynie cząstką mojej przyjaciółki, świeżą, przygodną, ale już mi drogą; śledziłem oczami ich smugę koło cyprysa w atmosferze wieczoru. Ona sama nie mogła widzieć, ale domyślała się że w tych wykwiatach jest jej ładnie, bo uśmiechała się do mnie, zestrajając ruch głowy z jej nakryciem i dopełnieniem. „Nie podoba mi się ten kościół, odrestaurowany”, rzekła, wskazując kościół i przypominając sobie to, co mówił Elstir o niedoścignionym pięknie starych kamieni. Albertyna umiała natychmiast poznać ślad restauracji. Podziw mogła budzić jej pewność smaku w architekturze, w porównaniu z żalonym gustem, jaki zachowała w muzyce.

Jak Elstir, nie lubiłem tego kościoła. Chłodno patrzałem na jego zalaną słońcem fasadę, która zjawiała się przed memi oczami; wysiadłem, aby spojrzeć na nią jedynie przez uprzejmość dla Albertyny. Mimo to, uważałem, że wielki impresjonista przeczy samemu sobie; czemu ten fetyszizm obiektywnej wartości architektury, nie uwzględniający przeobrażenia kościoła w zachodzie słońca?

— Nie, stanowczo — rzekła Albertyna — nie lubię go, lubię jego nazwę: „pyszny”. Ale trzeba się będzie zapytać Brichota, czemu Saint-Mars nazywa się „*le Vêtu*”. Pojedziemy tam następnym razem, prawda? — rzekła, patrząc na mnie czarnymi oczami, na które toczek zsunął się jak niegdyś „polo”. Woal bujał. Wsiadłem z nią do auta, szczęśliwy że jutro mamy jechać razem do Saint-Mars. W ów gorący czas, kiedy myślało się tylko o kąpeli, dwie starożytne rdzawe wieże, kryte rombami dachówek, lekko pochylone i jakby drgające, robiły wrażenie starych śpiczastych ryb, inkrustowanych łuską, omszonych i rudych, wznoszących się bez ruchu w przezroczystej i błękitnej wodzie. Opuszczając Marcouville, dla zyskania na czasie, skręciliśmy w boczną drogę, przy której, na skrzyżowaniu, znajdowała się ferma. Czasem Albertyna prosiła aby się zatrzymać i posyłała mnie abym przyniósł do auta coś do picia, calvadosu lub jabłecznika, który, jak upewniano, nie miał się pienić a który obryzgiwał nas całych pianą. Siedzieliśmy przytuleni do siebie. Ludzie z folwarku ledwie mogli dojrzeć Albertynę w zamkniętym wehikule; oddawałem im butelki, jechaliśmy wieść dalej owo podejrzwane przez nich życie we dwoje, życie kochanków, w którym ten postój był tylko nieznaczną chwilą. Podejrzenie to wy-



dałoby się tem bliższe prawdy, gdyby nas widziano później, skoro Albertyna wysączyła już butelkę jabłecznika; wówczas możnaby sądzić, że już nie może znieść między sobą a mną najlżejszego oddalenia; przez płócienną spódnicę nogi jej przyciskały się do moich, zbliżała do moich policzków swoje, które stawały się blade, ciepłe i zaczerwienione na kościach policzkowych, z odcieniem czegoś gorącego i zwiędłego, niby u dziewczyny ulicznej. W momentach tych, Albertyna zmieniała nietylko osobowość ale i głos; traciła własny, aby przybrać jakiś inny, schrypy, zuchwały, niemal plugawy. Wieczór zapadał. Co za rozkosz czuć ją przy sobie z jej woalem i toczkiem, przypominając sobie, że zakochane pary zawsze widuje się tak przytulone do siebie. Kochałem może Albertynę, ale nie śmiałem jej okazać tej miłości, mimo że, o ile we mnie istniała, to chyba tylko jak prawda pozbawiona wartości, dopóki się jej nie sprawdzi doświadczeniem; otóż, miłość ta wydawała mi się czemś nieziszczalnym, czemś poza płaszczyznę życia.

Co się tyczy mojej zazdrości, kazała mi ona możliwie najmniej rozstawać się z Albertyną, mimo iż wiedziałem że całkowicie może ją uleczyć aż zupełne zerwanie. Mogłem czuć zazdrość nawet przy niej, ale wówczas starałem się unikać okoliczności, która ją we mnie wzbudziła. I tak, pewnego pogodnego dnia wybraliśmy się na śniadanie do Rivebelle. Wielkie oszklone drzwi długiego hału gdzie się piło zazwyczaj podwieczorek, otwierały się wprost na złote od słońca trawniki, tak iż obszerna, lśniąca restauracja zdawała się stanowić ich część. Garson z różową twarzą, z czarnymi włosami skręconymi jak płomień, rzucał się w tę rozległą przestrzeń mniej chyżo niż dawniej, bo już był nie pikolem, lecz całym kelnerem; mimo to, wskutek jego wrodzonej ruchliwości, czasem zdaleka w jadalni, czasem bliżej ale na dworze (gdy obsługiwał gości, lubiących śniadać w ogrodzie) widziało się go to tu, to tam, niby kolejne posągi młodego biegnącego boga, jedne w dobrze zresztą oświetlonem wnętrzu budynku przedłużającego się w zielone gazon, to znów wśród drzew, w blasku życia pod gołym niebem. Przez chwilę znalazł się obok nas. Albertyna odpowiadała mi z roztargnieniem. Patrzyła na niego rozszerzonymi oczami. Przez kilka minut czułem, że można być obok osoby, którą się kocha, a jednak nie mieć jej przy sobie. Robili oboje wrażenie jakiegoś tajemniczego sam na sam, oniemionego moją obecnością; następstwo może dawnych schadzek, których nie znałem, lub tylko zamienionego spojrzenia, którego byłem krępującym i zbytecznym świadkiem. Nawet kiedy garson, odwołany nagle przez gospodarza, oddalił się, Albertyna robiła wrażenie, że restauracja i ogród są dla niej jedynie promienną bieżnią, gdzie zjawia się, to tu, to tam, na różnym tle, biegnący czarnowłosy bóg. Przez chwilę nie byłem pewny, czy ona nie zostawi mnie samego, aby biec za nim.

Ale w następnych dniach, rychło zacząłem zapominać na zawsze tego przykrego wrażenia, bom postanowił nigdy nie wracać do Rivebelle; kazałem sobie przyrzec Albertynie (upewniła mnie, że była tam pierwszy raz), że nie wróci tam nigdy. A ja przeczyłem aby garson o chyżych stopach wypatrywał na nią oczy, iżby nie sądziła, że moja obecność pozbawiła ją jakiejś przyjemności. Zdarzyło mi się czasem wpaść do Rivebelle, ale same-mu, i pić tam za dużo, jak bywało dawniej. Wypróżniając ostatni kieliszek, patrzyłem na rozetę wymalowaną na białej ścianie, skupiałem na niej wszystką rozkosz chwili. Jedynie ta rozeta istniała dla mnie; ścigałem ją oczami, dosięgałem jej i gubiłem ją naprzemian przelotnym spojrzeniem, obojętny na przyszłość, zadowolając się tą rozetą, niby motyl gdy krąży dokoła motyla, z którym ma dokonać życia w akcie szczytowej rozkoszy. Chwila była może szczególnie nadająca się dla wyrzeczenia się kobiety, gdy żadne świeże i dotkliwe cierpienie nie kazało mi błagać jej o ów balsam przeciwko bólowi, który posiadają te co ból sprawiły. Uspokajały mnie same owe spacer; mimo iż w danej chwili były dla mnie jedynie oczekiwaniem jutra, które znowuż, mimo pragnień jakie we mnie budziło, nie miało być czemś różnym od wczoraj, posiadały ten urok, że były wyrwane z miejsc, gdzie dotąd żyła Albertyna i gdzie mnie z nią nie było, u jej ciotki, u przyjaciółek. Był to urok, bardzo mocny zresztą, nie pozytywnej radości, ale tylko uśmierzenia niepokoju. Bo w kilka dni potem, kiedym znów myślał o fermie w której piliśmy jabłecznik, o spacerze koło Saint-Mars le Vêtu, kiedym sobie przypomniał Albertynę idącą koło mnie w swoim toczku, poczucie jej obecności przydało nagle tyle wartości obojętnemu obrazowi nowego kościoła, że w chwili gdy zalana słońcem fasada zjawiała się niejako sama z siebie w moim wspomnieniu, miałem wrażenie jakby to był wielki kojący kompres, przyłożony na moje serce.

Wysadzałem Albertynę w Parville, aby znów spotkać się z nią wieczór i wyciągnąć się obok niej w ciemności nad morzem. Oczywiście, nie widywałem jej codziennie, ale mogłem sobie choć powiedzieć: „Gdyby miała opowiedzieć swoje dni, swoje życie, i tak ja zajmowałbym w niem najwięcej miejsca.” Spędzaliśmy z sobą długie godziny, przepajające moje dni taką słodyczą, że nawet kiedy w Parville Albertyna wyskakiwała z auta, które miałem jej odesłać za godzinę, nie czułem się w aucie bardziej sam, niż gdyby wysiadając zostawiła w niem kwiaty. Byłbym się mógł obejść bez widywania Albertyny codziennie; żegnałem ją szczęśliwy, czułem iż kojące działanie tego szczęścia może się rozciągać na kilka dni. Ale wówczas słyszałem jak Albertyna, rozstając się ze mną, mówiła do ciotki lub przyjaciółki:

— Zatem jutro o wpół do dziewiątej. Tylko się nie spóźnij, oni będą gotowi już o kwadrans na dziewiątą.

Mowa kobiety którą się kocha podobna jest do gruntu kryjącego podziemną i niebezpieczną wodę; w każdej chwili czuje się poza słowami obecność i wnikliwy chłód niewidzialnej tafli wodnej; widzi się tu i ówdzie zdradliwą wilgoć, ale samej wody nie. Ledwie usłyszał słowa Albertyny, przepadł mój spokój. Chciałem ją prosić o spotkanie nazajutrz rano, aby nie mogła iść o wpół do dziewiątej na tę tajemniczą schadzkę, o której mówiła przy mnie półsłówkami. Usłuchałaby mnie z pewnością w pierwszych czasach, mimo iż żalując zepsutych projektów; potem odkryłaby moją ciągłą potrzebę niweczenia ich; stałbym się człowiekiem, przed którym ukrywa się wszystko. Bardzo być może zresztą, że te zabawy, z których mnie wykluczono, nie miały w sobie nic szczególnego; może mnie nie zapraszano z obawy iż któraś z uczestniczek mogłaby mi się wydać pospolita lub nudna. Nieszczęściem, owo moje życie tak splecione z życiem Albertyny miało wpływ nie tylko na mnie; mnie dawało spokój, matkę zaś przyprawiało o niepokoje, których zwierzenie zniweczyło znowuż mój spokój. Kiedy wracałem zadowolony, zdecydowany skończyć lada dzień tryb życia, którego koniec (sądziłem) zależał wyłącznie od mojej woli, matka, słysząc że każę szoferowi jechać po Albertynę, rzekła:

— Jak ty wyrzucasz pieniądze! (Franciszka, w swoim prostym wyrazistym języku, mówiła: „pieniądze lecą”). Staraj się — ciągnęła mama — nie być podobnym do młodego Sévigné, o którym matka mówiła: „Pieniądz topi mu się w ręce jak w tyglu”. I wiesz... zdaje mi się, że ty doprawdy nadużywasz tego obnoszenia się z Albertyną. Upewniam cię, że to przesada, że to nawet dla niej może się wydać bez sensu. Byłam bardzo rada, że cię to bawi; nie proszę cię abyś ją całkiem przestał widywać; ale ostatecznie, wolałabym abyście byli mniej nierozłączni.

Moje życie z Albertyną, życie pozbawione — przynajmniej w moim odczuciu — wielkich przyjemności, owo życie, które zamierzałem odmienić lada dzień, korzystając z godziny spokoju, stało mi się nagle na jakiś czas potrzebne, z chwilą gdy było zagrożone przez te słowa mamy. Powiedziałem matce, że słowa jej opóźniły może o dwa miesiące pożądaną decyzję, która bez nich byłaby zapadła przed końcem tygodnia. Mama zaczęła się śmiać (aby mnie nie zasmucać) z doraźnego skutku swoich rad; przyrzekła mi nie mówić już o tem, aby nie przeszkadzać odrodzeniu się moich intencji. Ale od śmierci babki, za każdym razem kiedy mama zaczynała się śmiać, wnet śmiech jej urywał się i kończył wyrazem niemal bolesnego łkania, czy to przez wyrzut że mogła na chwilę zapomnieć, czy wskutek nawrotu, którym owo tak krótkie zapomnienie wzmogło jeszcze jej okrutną żalność. Ale ze zgryzotą którą jej sprawiało wspomnienie babki, obecne w matce bez przerwy, uczułem, że tym razem łączy się inna zgryzota, związana z tem, że matka bała się następstw mojej zażyłości z Albertyną; zażyłości, której nie śmiała jednak krępować z powodu tego com jej powiedział. Ale nie zdawała się przekonana że ja się nie łudzę. Przypominała sobie, przez ile lat babka i ona sama nie wspominały mi już o pracy ani o higieniczniejszym sposobie życia, do którego, jak powiadałem, jedynie zdenerwowanie wywołane przez ich morały stało mi na zawadzie, a którego, mimo ich posłusznego milczenia, nie podjąłem.

Po obiedzie, auto przywoziło Albertynę; jeszcze było dość widno a już mniej gorąco, ale po upalnym dniu marzyliśmy oboje o nieznanym chłodzie; wówczas ukazywał się naszym zgorączkowanym oczom księżyc zrazu całkiem wąski (podobny księżycowi z owego wieczora, kiedy byłem na raucie u księżnej Marji i kiedy Albertyna później telefonowała do mnie), niby lekka i cienka skórka, potem jak świeża ćwiartka owocu obieranego na

niebie niewidzialnym nożem. Czasem znowuż wówczas trochę później — ja jechałem po Albertynę; miała mnie oczekiwać przed arkadami hali targowej w Maineville. W pierwszej chwili nie poznałem jej; niepokoiłem się już że nie przyjdzie, że mnie źle zrozumiała. Naraz zjawiała się w białej bluzce w niebieskie groszki, sadowiła się przy mnie w aucie lekkim skokiem raczej młodego zwierzęcia niż młodej dziewczyny. I również jak szczeniak zaczynała mnie pieścić bez końca.

Kiedy całkiem już zapadła noc i kiedy, jak powiadał dyrektor, niebo było całe uszatkowane gwiazdami, często jechaliśmy na spacer do lasu z butelką szampana; albo, nie troszcząc się o spacerowiczów włóczących się jeszcze po słabo oświetlonej didze, skąd nie było nic widać o dwa kroki na czarnym piasku, wyciągaliśmy się u stóp diuny. Trzymałem tuż około siebie, pod wspólnym pledem, nad brzegiem nieruchomego morza przedzielnego drżącym promieniem, ciało jej, gibkością swoją streszczające cały kobiecy, morski i sportowy wdzięk młodych dziewcząt, które ujrzałem pierwszy raz przeciągające nad widnokregiem fal; i słuchaliśmy bez znużenia tego morza, z jednaką przyjemnością, czy kiedy wstrzymywało oddech, na tyle zawieszony aby można było myśleć że odpływ się zatrzymał, czy kiedy gasło wreszcie u naszych stóp oczekiwanym i spóźnionym szmerem.

W końcu odwoziłem Albertynę do Parville. Skorośmy przybyli pod dom, trzeba było przerwać pocałunki, z obawy aby ktoś nas nie ujrzał; nie mając ochoty spać, Albertyna wracała ze mną do Balbec, skąd odwoziłem ją jeszcze raz do Parville; w owych pierwszych czasach automobilu, szoferzy to byli ludzie, którzy się kładli o dowolnej godzinie. I faktycznie wracałem do Balbec aż z pierwszą wilgocią ranną, wreszcie sam, ale jeszcze spowity obecnością przyjaciółki, zaopatrzony na długo w zapas pocałunków. Zastawałem na stole depezę lub kartę pocztową — jeszcze od Albertyny! Napisała do mnie z Quetteholme, podczas gdy ja odjechałem sam autem — aby mi powiedzieć, że myśli o mnie. Kładłem się do łóżka, odczytując jej słowa. Wówczas spostrzegłem nad frankami smugę jasnego dnia i powiadałem sobie, że musimy się chyba kochać, skorośmy spędzili noc na całowaniu się.

Kiedy nazajutrz rano spotykałem Albertynę na didze, tak się bałem jej odpowiedzi że nie jest tego dnia wolna i że nie będzie wspólnego spaceru, żem opóźniał swoją propozycję możliwie najdłużej. Byłem tem bardziej niespokojny, bo Albertyna miała wyraz chłodny, nieobecny; kręca się jej znajomi, z pewnością ma na popołudniu plany, z których mnie wykluczono. Patrzałem na nią, patrzałem na to urocze ciało, na różową główkę Albertyny, przeciwstawiającą mi niemo zagadkę swoich planów, nieznaną decyzję, która miała stanowić szczęście lub nieszczęście mojego popołudnia. Był to cały stan duszy, cała przyszłość istnienia, które przybrało w moich oczach alegoryczny i złowrogi kształt młodej dziewczyny. I kiedym się wreszcie zdecydował, kiedy możliwie najobojętniej spytałem: „Czy pojedziemy na spacer teraz i wieczorem”, ona zaś odpowiedziała: „Bardzo chętnie”, wówczas całe nagle przeobrażenie się — na tej różowej twarzy — mego długiego niepokoju w rozkoszny spokój czyniło mi jeszcze droższymi te kształty, którym bezustannie zawdzięczałem ową błogość, owo ukojenie, podobne temu jakiego się doznaje po burzy. Powtarzałem sobie: „Jaka ona miła, co za czarująca istota!” — w podnieceniu mniej płodnym niż alkoholowe, ledwie że głębszem niż egzaltacja przyjaźni, ale o wiele wyższem od wzruszeń życia światowego.

Odmawialiśmy auto jedynie w dniu kiedy był obiad u Verdurinów, lub kiedy, w razie przeszkód ze strony Albertyny, dawałem znać osobom pragnącym mnie odwiedzić, że zostaję w Balbec. Upoważniłem Roberta do odwiedzania mnie w te dni, ale tylko w te. Bo pewnego razu, kiedy się zjawił niespodzianie, wolałem się raczej wyrzec widzenia Albertyny niż ryzykować jej spotkanie z Robertem, narażać właściwy mi od jakiegoś czasu stan szczęśliwego spokoju i dopuszczać do nowych paroksyzmów zazdrości. I nie uspokoiłem się aż Saint-Loup wyjechał. Toteż zobowiązał się z żalem, ale skrupulatnie, nie zjawiać się nigdy w Balbec bez upoważnienia. Niegdyś, myśląc z zazdrością o godzinach, jakie spędza z Robertem pani de Guermantes, przywiązywałem taką cenę do widywania go! Ludzie zmieniają wciąż miejsce w stosunku do nas. W niedostrzegalnem ale wiekuistem posuwaniu się świata, zdają się nam nieruchomi w momencie wizji, zbyt krótkim abyśmy mogli odczuć ruch który ich unosi. Ale wystarczy nam wybrać w pamięci dwa obrazy zdjęte z nich w chwilach różnych ale na tyle bliskich aby dana osoba nie zmieniła

się wyraźnie sama w sobie, a różnica tych obrazów uzmysłowi nam jej przemieszczenie w stosunku do nas.

Saint-Loup zaniepokoił mnie straszliwie, wspominając o Verdurinach. Bałem się, aby mnie nie poprosił o wprowadzenie do nich, co by wystarczyło — z powodu mojej nieustannej zazdrości — aby zepsuć całą przyjemność czerpaną tam w towarzystwie Albertyny. Szczęściem, Robert zwierzył mi się, że wprost przeciwnie, za nic nie chce ich poznać. „Nie — powiedział — ten typ klerykalnych środowisk wydaje mi się okropny.” Nie zrozumiałem zrazu przymiotnika „klerykalny” w zastosowaniu do Verdurinów; ale dalsze słowa Roberta oświeciły mi jego myśl, jego koncesje dla modnych zwrotów, które nas dziwią często w ustach inteligentnych ludzi.

— To są środowiska — rzekł — gdzie wszyscy stanowią niby jedno plemię, gdzie się tworzy kongregacja, kapliczka. Nie powiesz mi, że to nie jest mała sekta; smaruje się tam miodem każdego kto do niej należy, smaga wzdrgająco tych co nie należą. Pytanie nie jest — jak dla Hamleta — *być albo nie być*, ale być albo nie być częścią „paczki”. Ty jesteś, wuj Charlus także. Cóż chcesz, ja tego nigdy nie lubiłem, to nie moja wina.

Rozumie się, iż zasadę, jaką nałożyłem Robertowi, aby mnie nie odwiedzał nie wzwany, zastosowałem równie ściśle do wszystkich osób z którymi zbliżyłem się w la Raspeliere, w Féterne, w Montsurvent i gdzieindziej; i kiedy spostrzegłem z hotelu dym przybywającego o trzeciej pociągu, który w skałach Parville gubił swój trwały pióropusz, długo uczepiony stoków zieleni, nie miałem żadnych wątpliwości co do osoby gościa, który przybywał na podwieczorek i który jeszcze, naksztalt jakiegoś boga, krył się przedemną w tej chmurze. Muszę wyznać, że tym gościem, z góry upoważnionym przeze mnie do przybycia, nie był prawie nigdy Saniette, co sobie często wyrzucałem. Ale świadomość własnej nudy (oczywiście jeszcze bardziej kiedy przyjeżdżał z wizytą, niż kiedy opowiadał jakąś historyjkę), sprawiała, iż Saniette, mimo że wykształceńszy, inteligentniejszy i lepszy od wielu innych, nie tylko nie sprawiał swoim towarzystwem żadnej przyjemności, ale przynosił wręcz z sobą nieznośny spleen, psujący człowiekowi całe popołudnie. Gdyby Saniette otwarcie wyznał swoją obawę znudzenia kogoś, wizyty jego nie byłyby tak groźne. Nuda jest jednym z najmniej poważnych cierpień; jego nuda istniała może tylko w wyobraźni innych, lub zaszczerpiono mu ją w drodze sugestji, której nie zdołała się oprzeć jego miła skromność. Ale tak bardzo pragnął utaić że nie jest chętnie widziany, iż nie śmiał się narzucać. Z pewnością dobrze czynił, nie naśladowując owych ludzi, co tak skwapliwie rozdają ukłony w miejscu publicznym, że, mimo iż was oddawna nie widzieli, spostrzegłszy was w łoży z wysoko położonymi osobami których nie znają, rzucają wam dorywcze i hałaśliwe „jak się masz!”, tłumacząc się przyjemnością, wzruszeniem jakie im sprawił twój widok i sposobność stwierdzenia żeś znów pojawił się w „świecie”, że dobrze wyglądasz etc. Saniette, przeciwnie, miał za mało tupetu. Mógłby, czy u pani Verdurin czy w kolejce, powiedzieć mi, że gdyby się nie lękał być natrętnym, chętnie by mnie odwiedził w Balbec. Taka propozycja nie przestraszyłaby mnie. Przeciwnie, on nie proponował nic, ale ze zniechęcaną twarzą, ze spojrzeniem niezniszczalnym jak emalia, ale kryjącym gorączkową żądzę odwiedzenia mnie (o ile mu się nie trafiło coś przyjemniejszego) a zarazem chęć nie okazania tej żądz, mówił swobodnie:

— Nie wie pan, co pan będzie robił w tych dniach, bo ja będę prawdopodobnie w pobliżu Balbec? Ale nie, to nie ma znaczenia, pytałem ot tak.

Ten wyraz twarzy nie mylił, odwrotnie zaś znaki, za pomocą których wyrażamy swoje uczucia przez ich przeciwieństwo, są tak czytelne, że trudno nam pojąć, jakim cudem istnieją jeszcze ludzie, powiadający naprzykład: „Mam tyle zaproszeń, że nie mogę sobie dać rady”, aby pokryć to, że nie są zaproszeni. Ale co więcej, ta swobodna mina, zapewne z powodu wszystkiego co wchodzi w jej mętny skład, przyprawia was o to, czego nie zdołałaby sprawić obawa znudzenia lub szczere wyznanie chęci widzenia was; rodzaj niesmaku, odrazy, będących, w zakresie stosunków towarzyskich, tem, czem jest w miłości pośrednia propozycja widzenia się nazajutrz, jaką zakochany robi nie kochającej go damie, starając się zarazem okazać że mu na tem nie zależy. Czasem jest to nawet nie propozycja, ale odcień fałszywego chłodu. Natychmiast z osoby Saniette'a wydzielalo się coś, co sprawiało, że mu się odpowiadało najczulej w świecie: „Niestety, w tym tygodniu nie; wytłumaczę to panu”... I zapraszałem w jego miejsce ludzi, którzy nie dorastali go wartością, ale nie mieli jego nabrzmiałego melancholiją wzroku i ust skurczonych całą goryczą

wizyt, które miał ochotę (głęboko zamilczaną) złożyć. Niestety rzadko się zdarzało, aby Saniette nie spotkał w kolejce gościa jadącego do mnie; czasami sam ów gość mówił do mnie u Verdurinów: „Niech pan nie zapomni, że mam być u pana we czwartek” — właśnie w dniu gdy dla Saniette’a nie byłem wolny. Tak że w końcu Saniette wyobrażał sobie życie jako pasmo rozrywek organizowanych bez jego wiedzy, o ile wręcz nie przeciwko niemu. Z drugiej strony, ponieważ nigdy nie jesteśmy całkiem jednolici, ten człowiek nazbyt dyskretny był chorobliwie niedyskretny. Jedyny raz, kiedy przypadkowo Saniette odwiedził mnie bez mojej woli, jakiś list — nie wiem już od kogo — wałęsał się na stole. Po chwili zauważyłem, że Saniette ledwo słucha tego co do niego mówię. Ów list, którego pochodzenia Saniette absolutnie nie znał, niepokoił go! zdawało się, że jego emaliowane źrenice wyrwą się ze swoich orbit, aby osiągnąć list, obojętny, ale namagnesowany jego ciekawością. Rzekłbyś ptak, który rzucił się nieuchronnie na węża. W końcu nie mógł wytrzymać; przesunął list, niby to robiąc porządek. To mu nie wystarczyło: wziął list, kręcił go; obracał, jakby machinalnie. Inną formą jego niedelikatności było to, że przypiąwszy się do ciebie, nie umiał odejść. Ponieważ byłem tego dnia cierpiący, prosiłem go aby odjechał najbliższym pociągami odchodzącym za pół godziny. Nie wątpił że cierpię, ale rzekł: „Zostanę jakąś godzinę, potem pojedę”. Od tego czasu dręczyło mnie, że go nie zapraszał przy każdej sposobności. Kto wie? Możeby odczynił jego zły urok, może zaprosiliby go inni, dla których byłby mnie niezwłocznie rzucił, tak iż moje zaproszenia miałyby podwójną korzyść: jemu wróciłyby radość życia, a mnie uwolniłyby od niego.

W dniu następujące po takiej recepcji, nie spodziewałem się oczywiście wizyt; i znów zajeżdżało auto po Albertynę i po mnie. A kiedyśmy wracali, Aimé, stojąc w progu, nie mógł się wstrzymać aby nie śledzić namiętnym, ciekawym i łakomym wzrokiem, ile napiwku dają szoferowi. Daremnie kryłem sztukę monety lub banknot w zamkniętej dłoni; spojrzenia Aimégo rozsuwały moje palce. Po sekundzie odwracał głowę, bo był dyskretny, dobrze wychowany i zadowalał się dość skromnymi obrywkami. Ale pieniądze dawane innemu budziły w nim niezrozumiałą ciekawość, sprowadzały mu ślinę do ust. Podczas tych krótkich chwil, miał uważną i zgorączkowaną minę dziecka czytającego powieść Verne’a lub minę gościa siedzącego opodal w restauracji, gdy, widząc iż krają dla was bażanta, na którego on nie chce lub nie może sobie pozwolić, porzuca na chwilę poważne myśli, aby wlepić w ptaka rozpromienione miłością i żądzą spojrzenie.

Tak więc, moje spacerowanie autem powtarzały się codzień. Ale raz, w chwili gdy wracał windą, chłopiec oznajmił mi: „Ten pan był u pana, zostawił zlecenie”. Wyrzekł te słowa głosem absolutnie złamanym, kaszląc i plując mi w twarz. „Co ja za katar złapałem!” — dodał, tak jakbym ja tego nie mógł zauważyć sam. „Doktor powiada, że to jest koklusz” — i dalej zaczął kaszleć i pluć na mnie. „Proszę się nie trudzić mówieniem” — rzekłem z dobrocią, niestety udaną. Bałem się zarazić kokluszem, który — przy mojej skłonności do astmy — byłby dla mnie nader uciążliwy. Ale on — jak wirtuoz który nie chce poddać się chorobie — wkładał swoją ambicję w to aby mówić i pluć cały czas. „Nie, to nic — rzekł (dla ciebie może — pomyślałem — ale nie dla mnie). Zresztą niedługo wracam do Paryża. (Tem lepiej, byle mi tylko nie wpakował choroby wcześniej). Zdaje się — ciągnął — że Paryż to coś bardzo wspaniałego. To ma być jeszcze wspanialsze niż nasz hotel i niż Monte Carlo, mimo że pikolaki, a także goście, i nawet kelnerzy, którzy bywali w Monte-Carlo w sezonie, mówili mi często, że Paryż jest mniej wspaniały niż Monte-Carlo. Może im się tak zwidziało, chociaż żeby być starszym kelnerem, człowiek nie może być głupi; przyjmować zamówienia, rezerwować stoliki, na to trzeba mieć głowę! Mówią, że to jeszcze cięższe niż pisać sztuki do teatru i książki.”

Dojechaliśmy prawie na moje piętro, kiedy windziarz ściągnął mnie na sam dół, bo uważał że guzik źle funkcjonuje. W mgnieniu oka poprawił go. Oświadczyłem, że wolę wracać pieszo, w czym taiło się wyznanie, że wolę nie dostać koklusza. Ale on, serdecznym i zaraźliwym atakiem kaszlu, wtrącił mnie z powrotem do windy. „Teraz już pan nic nie ryskuje, naprawiłem guzik” — rzekł. Widząc że nie przestaje gadać, ciekawszy nazwiska gościa oraz zlecenia jakie mi zostawił, niż porównań piękności Balbec, Paryża i Monte-Carlo, rzekłem chłopcu (jak tenorowi, który cię męczy Benjaminem Godard, mówią się: „zaśpiewaj pan lepiej coś Debussy’ego”):

— Ale kto się pytał o mnie?

— Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj. Poszukam kartki, została u odźwiernego.

Ponieważ w wilię odwoziłem Roberta na stację Doncières zanim się udałem po Albertynę, sądziłem że chłopiec mówi o Robercie; ale to był szofer. Określając go słowami: „Ten pan, z którym pan jeździł wczoraj”, windziarz uprzytomnił mi zarazem, że robotnik jest równie dobrze „panem” jak człowiek światowy. Lekcja tycząca jedynie słów. Bo, co do samej rzeczy, nigdy nie robiłem różnic między klasami. A jeżeli, słysząc że ktoś nazywa szofera „panem”, objawiłem to samo zdziwienie co hrabia X, który, będąc hrabią dopiero od tygodnia, kiedyś doń powiedział: „Hrabina wydaje się zmęczona”, obrócił głowę aby zobaczyć o kim mówię, było to jedynie przez nieobycie ze słownikiem; nie robiłem nigdy różnic między robotnikami, mieszczaństwem i wielkimi panami, i mógłbym się bez różnicy przyjaźnić z tymi lub tamtymi, z pewną predylekcją do robotników a potem do wielkich panów, nie z upodobania, ale przez świadomość, że można od nich wymagać więcej grzeczności wobec robotników niż się jej można spodziewać u mieszczan; czy że wielcy panowie nie gardzą robotnikami jak mieszczenie, czy że są chętnie grzeczni wobec każdego, jak ładne kobiety rade są darzyć wszystkich uśmiechem, w poczuciu że zawsze będzie przyjęty z radością. Ten mój obyczaj, aby osoby z ludu traktować narówni z osobami ze świata, o ile spotykał się z uznaniem światowców, o tyle nie mogę powiedzieć, aby zawsze przypadł do smaku matce. Nie znaczy to, aby, biorąc po ludzku, robiła kiedy różnicę między ludźmi. Jeżeli kiedy Franciszka miała zgryzotę lub była cierpiąca, mama pielęgnowała ją i pocieszała tak samo czule, z takim samym poświęceniem, co najlepszą przyjaciółkę. Ale matka zanadto była córką mego dziadka, aby nie uznawać kast. „Ludzie z Combray” mogli mieć serce, wrażliwość, mogli sobie przyswoić piękne teorie równości; ale kiedy któryś służący pozwolił sobie odezwać się do mnie przez „vous”, emancypując się nieznacznie z mówienia w trzeciej osobie, matka przyjmowała uzurpację z tem samym niezadowolaniem, jakie wybucha w *Pamiętnikach* Saint-Simona za każdym razem kiedy magnat jakiś, nie mający do tego prawa, uzurpuje sobie tytuł *Altesse* w urzędowym akcie, lub nie oddaje diukom tego co im powinien a od czego stopniowo się zwalnia. Istniał „duch Combray”, tak uparty, że trzeba będzie wieków dobroci (dobroć mamy była nieskończona) i teoryj socjalnych, aby go zneutralizować. Muszę przyznać, że u mamy pewne części tego ducha pozostały nierozpuszczalne. Równie trudno podałaby rękę lokajowi, jak łatwo dawała mu dziesięć franków (które mu zresztą sprawiały znacznie więcej przyjemności). Mimo żeby tego może nie przyznała, panowie to byli dla niej panowie, a służba to byli ludzie co jadają w kuchni. Kiedy widziała, jak szofer jadł ze mną obiad w jadalni, nie była zbyt rada i mówiła: „Zdaje mi się, że mógłbyś znaleźć odpowiedniejszego przyjaciela”, tak jakby powiedziała, gdy chodziło o małżeństwo: „Mógłbyś znaleźć lepszą partję”.

Szofer (na szczęście nigdy nie przyszło mi na myśl zaprosić tego szofera) przyszedł oznajmić, że przedsiębiorstwo samochodowe, które go wysłało na sezon do Balbec, każe mu wracać już jutro do Paryża. Rację tę wzięliśmy za szczerą prawdę, zwłaszcza że szofer był uroczy i że wyrażał się tak poprostu, iż słowa jego budziły zawsze wiarę naksztalt słów ewangelji. Było to prawdą jedynie w połowie. Nie miał w istocie już nic do roboty w Balbec. I w każdym razie, przedsiębiorstwo, mając tylko połowiczne zaufanie do prawdomówności młodego ewangelisty, wspartego na swoim symbolicznym kole, pragnęło go ujrzyć co rychlej w Paryżu. I w istocie, o ile młody apostoł cudownie skutecznie mnożenie kilometrów licząc je panu de Charlus, w zamian za to, kiedy chodziło o zdanie rachunków swojej władzy, dzielił przez sześć to co zarobił. W rezultacie, przedsiębiorstwo, myśląc że albo już nikt nie jeździ na spacer w Balbec (co o tej porze było prawdopodobne), albo że zachodzi ewentualność kradzieży, uznało, w obu wypadkach, że najlepiej będzie odwołać szofera do Paryża, gdzie zresztą też nie wiele było roboty. Pragnieniem szofera było uniknąć o ile możebne martwego sezonu. Wspomniałem — czegom nie wiedział wówczas a czego świadomość oszczędziłaby mi wielu zgryzot — że on był bardzo blisko z Morelem, mimo iż nigdy nie zdradzili że się znają. Począwszy od dnia kiedy odwołano szofera (nie wiedząc jeszcze, że on znajdzie sposób aby nie pojechać), musieliśmy przestać na spacerach najętym powozem, lub czasem wierzchem dla rozerwania Albertyny, która lubiła jazdę konną. Powozy były liche. „Co za gruchot!” — mówiła Albertyna. Często byłbym zresztą wołał być w powozie sam. Nie chcąc określać sobie daty, pragnąłem aby się skończyło owo życie, które winiłem że mnie okradał nietyłe z pracy ile z przyjem-

ności. Ale zdarzało się również, że przyzwyczajenia, które mnie wiązały, znikły nagle, najczęściej kiedy jakiś dawny *ja*, żądny życia i wesela, zastępował na chwilę obecne *ja*. Odczułem tę potrzebę ucieczki zwłaszcza pewnego dnia, kiedy, zostawiwszy Albertynę u ciotki, wybrałem się konno do Verdurinów i puściłem się przez las dziką drogą, której piękność mi zachwalali. Naginając się do konturów skalistego brzegu, droga to wspinała się w górę, to znów, wcisnięta w bukiety gęstych drzew, zapuszczała się w dzikie wąwozy. Przez chwilę, otaczające mnie nagie skały, morze widziane przez ich blanki, migwały mi przed oczami niby fragmenty innego świata; poznałem górzysty i morski pejzaż, jak Elstir dał za tło dwom cudownym akwarelom: „Poeta spotykający muzę” i „Młody człowiek spotykający centaury”, które widziałem u księżnej Oriany. Wspomnienie ich przenosiło oglądane przezemnie miejsca tak dalece poza świat obecny, że nie zdziwiłbym się, gdybym, jak przedhistoryczny młody człowiek u Elstira, minął w czasie przechadzki jaką mitologiczną osobę. Naraz, koń stanął dęba; usłyszał szczególny hałas, ledwie go zdołał opanować i nie spaść na ziemię; zaczem podniosłem oczy pełne łez ku punktowi skąd zdawał się pochodzić hałas, i ujrzałem, na pięćdziesiąt metrów nad sobą, w słońcu, między dwoma lśnjącymi stalowymi skrzydłami, istotę, której niewyraźna twarz zdała mi się podobna do twarzy człowieka. Byłem równie wzruszony jak mógłby być wzruszony Grek, ujrawszy pierwszy raz półboga. Płakałem również, bo byłem gotów płakać od chwili gdym poznał, że hałas płynie z nad mojej głowy — samoloty były jeszcze rzadkie w owej epoce — na myśl, że to co widzę pierwszy raz, to jest samolot. Wówczas — jak wtedy kiedy się czuje że zbliża się w dzienniku wzruszające słowo — czekałem tylko widoku samolotu, aby się zalać łzami. Tymczasem lotnik zdawał się wahać w drodze; czułem, że się otwierają przed nim — przedemną, gdyby przyzwyczajenie nie uczyniło mnie więźniem — wszystkie drogi przestrzeni, życia; pomknął dalej, bujał jakiś czas nad morzem, poczem, powziąwszy nagle decyzję, zdając się ustępować jakiemuś odwrotnemu do praw ciężkości przyciąganiu, jakgdyby wracając w swoją ojczyznę, lekkim ruchem złotych skrzydeł pomknął prosto ku niebu.

Ale wróćmy do szofera. Zażądał od Morela nietylko tego, aby Verdurinowie zastąpili swój breack autem (co, zważywszy hojność Verdurinów w stosunku do wiernych, było stosunkowo łatwe), ale zażądał rzeczy trudniejszej: mianowicie aby w miejsce stangreta (owego młodego człowieka wrażliwego i skłonnego do melancholji) wzięli jego samego. Spełniło się to w ciągu kilku dni w następujący sposób. Na początek, Morel postarał się aby stangretowi ukradziono wszystko co było potrzebne do zaprzęgu. Jednego dnia nie znalazł wędzidla, drugiego dnia łańcuszka. To znowuż znikła poduszka z kozła; wreszcie bat, koc, gąbka, skóra zamiszowa. Ale zawsze dał sobie jakoś radę, pożyczył od sąsiadów, tyle tylko że zajeżdżał późno, co drażniło pana Verdurin, jego zaś samego grążyło w smutku i melancholji. Szofer, któremu pilno było objąć miejsce, oświadczył Morelowi, że wraca do Paryża. Trzeba było zadać stanowczy cios. Morel wmówił w służbę pana Verdurin, iż młody stangret odgrażał się że ich wszystkich wciągnie w pułapkę i że da sobie rady bodaj z sześcioma; Morel wytłumaczył im, że tego nie mogą puścić płazem. On sam nie może się w to mieszać, ale uprzedza ich, aby się załatwili ze śmiałkiem. Ułożono, że podczas gdy państwo Verdurin i goście będą na spacerze, oni wezmą się w stajni do nieboraka. Wspomnę — mimo iż to była tylko okazja do tego co się miało zdarzyć, ale dlatego że te osoby interesowały mnie później — że tego dnia bawił u Verdurinów jakiś przyjaciel, na którego cześć, przed jego wyjazdem, postanowionym na ten właśnie wieczór, ułożono pieszy spacer.

Bardzo mnie zdziwiło, kiedyśmy szli na przechadzkę, że właśnie tego dnia Morel, który miał iść z nami pieszo i grać na skrzypcach w lasku, powiedział mi:

— Słuchaj pan, ręka mnie boli, nie chcę tego mówić pani Verdurin, ale niech ją pan poprosi, aby wzięła kogoś ze służby, na przykład Howslera, zanieś moje skrzypce.

— Sądzę, że inny lepiej by się nadał — rzekłem. — Howsler usługuje do obiadu.

Wyraz gniewu przebiegł twarz Morela.

— Ale nie, nie mam ochoty powierzać skrzypiec byle komu.

Zrozumiałem później rację tego wyboru. Howsler był ukochanym bratem młodego stangreta i gdyby został w domu, mógłby mu pospieszyć z pomocą. W czasie przechadzki, Morel rzekł cicho, tak aby starszy Howsler nie mógł nas usłyszeć:

— To bardzo pocziwy chłopak. Zresztą brat jego również jest pocziwy. Gdyby nie miał tego fatalnego nałogu picia...

— Jakto, picia? — rzekła pani Verdurin, blednąc na myśl, że ma stangreta który pija.

— Pani tego nie zauważyła? Zawsze sobie powtarzam, że to cud, że jemu się nie zdarzył wypadek w czasie gdy z panią jedzie...

— Ależ on jeździ i z innymi?

— Niech się pani spyta, ile on razy wywrócił; twarz ma dziś całą posiniaczoną. Nie wiem, jakim cudem się nie zabił; połamał dyszel.

— Nie widziałam go dzisiaj — rzekła pani Verdurin, drżąc na samą myśl tego, co się jej mogło przytrafić — martwi mnie pan.

Chciała skrócić przechadzkę, aby wracać do domu. Aby ją zatrzymać, Morel zaczął grać *Air Bacha*, przeciągając grę nieskończonymi warjacjami. Za powrotem, pani Verdurin poszła do wozowni, ujrzała nowy dyszel i Howslera we krwi. Chciała mu powiedzieć, nie robiąc wymówek, że nie potrzebuje już stangreta i wypłacić go, ale on sam, nie chcąc obwiniać kolegów, których niechęci przypisywał wstecz codzienną kradzież upręży, a widząc że dalsza cierpliwość mogłaby go kosztować życie, oznajmił że chce odejść, co rozwiązało sytuację. Szofer zgodził się od jutra, później zaś pani Verdurin (która musiała wziąć innego) była z niego tak zadowolona, że mi go gorąco poleciła jako człowieka absolutnie pewnego. Nie wiedząc o niczem, wziąłem go na dniówkę w Paryżu. Ale za nadto uprzedzam wypadki: wszystko to znajdzie się w historii Albertyny. W tej chwili jesteśmy w la Raspelière, dokąd przybyłem na obiad pierwszy raz z moją przyjaciółką, a p. de Charlus z Morelem, domniemanym synem „intendenty”, mającego trzydzieści tysięcy franków stałej pensji, własny powóz i mnogość marszałków dworu, urzędników, ogrodników, rządców i dzierżawców pod swymi rozkazami. Ale, skoro tak bardzo uprzedziłem wypadki, nie chcę zostawiać czytelnika pod wrażeniem absolutnej niegodziwości Morela. Był on raczej pełen przeciwieństw, zdolny w pewnych dniach do prawdziwej dobroci.

Byłem oczywiście bardzo zdziwiony, dowiadując się, że stangreta oddalono, a bardziej jeszcze widząc jego następcę szofera, który woził Albertynę i mnie. Ale ów opowiedział mi skomplikowaną historię, wedle której rzekomo wrócił do Paryża, skąd go wezwano do Verdurinów; ani na chwilę nie wątpiłem o prawdzie jego opowieści. Dymisja stangreta była przyczyną, że Morel wdał się ze mną w rozmowę, aby wyrazić żal z powodu odprawy tego dzielnego chłopca. Zresztą nawet poza chwilami gdy byłem sam i kiedy Morel rzucał się dosłownie na mnie z wybuchem radości, skrzypek, rozumiejąc że jestem mile widziany w la Raspelière i czując że się dobrowolnie wyrzeka przyjaźni z kimś kto nie jest dlań niebezpieczny (skoro mi kazał spalić mosty i pozbawił mnie wszelkiej możliwości przybierania wobec niego protekcyjnych tonów, czego zresztą bynajmniej nie zamierzałem czynić), przestał mnie unikać. Przypisałem tę zmianę wpływowi pana de Charlus, który w istocie czynił Morela na niektórych punktach mniej ograniczonym, bardziej artystą; na innych zato, w których Morel dosłownie stosował wielomowne, kłamliwe i kapryśne zresztą zasady mistrza, ogłupił go jeszcze bardziej. To, co mu mógł mówić p. de Charlus, było zresztą jedyną rzeczą, której się mogłem domyślać. Jak mógłbym zgadnąć wówczas to, czegom się dowiedział później (i czegom nigdy nie był pewny, ile ze wszelkie relacje Anny w przedmiocie Albertyny, zwłaszcza późniejsze, zdawały mi się zawsze mocno podejrzane, bo, jak widzieliśmy niegdyś, Anna nie kochała szczerze Albertyny i była o nią zazdrosna), a co w każdym razie, jeżeli było prawdą, oboje ukrywali przedemną bardzo starannie: mianowicie że Albertyna znała się dobrze z Morelem.

Nowy system, jaki, w epoce odprawienia stangreta, Morel przybrał w stosunku do mnie, pozwolił mi zmienić o nim zdanie. Zachowałem o jego charakterze brzydkie pojęcie, powzięte z uniżoności tego młodego człowieka w chwili gdy mnie potrzebował, a następnie — skoro tylko oddałem mu usługę — ze wzgardy posuwającej się do ignorowania mnie. Przybywała do tego oczywistość jego przedajnych stosunków z panem de Charlus, a także bestjałskich instynktów, których niezaspokojenie (kiedy się to zdarzyło) lub wywołane niemi komplikacje powodowały jego smutek; ale ten charakter nie był tak jednolicie brzydki i pełen sprzeczności. Podobny był do starej średniowiecznej książki, pełnej błędów, niedorzecznych tradycji, obsceniów — był nadzwyczaj złożony. Sądziłem zrazu, że sztuka, w której stał się istotnie mistrzem, dała Morelowi coś, co przekracza technikę wirtuoza. Jednego razu, kiedym wyrażał pragnienie wzięcia się do



pracy, Morel rzekł: „Pracuj pan, stań się pan wielki. — Kto to powiedział? — spytałem. — Fontanes do Chateaubrianda.” Znal także korespondencję miłosną Napoleona. Dobrze, pomyślałem; odczytany jest. Ale to zdanie, wyczytane niewiadomo gdzie, było z pewnością jedynym które znalazłem z całej starej i nowej literatury, bo mi je powtarzał co wieczór. Innym zdaniem, które mi powtarzał częściej, aby mnie powstrzymać od mówienia o nim czegokolwiek, był cytat, który on uważał również za literacki, a który zaledwie jest francuski lub raczej niema żadnego sensu, chyba dla maskującego się lokaja: „Nie ufajmy nieufnym”. W gruncie, idąc od tej idjotycznej maksymy aż do słów Fontanes’a do Chateaubrianda, możnaby przebiec całą partję charakteru Morela, różnorodną ale mniej sprzeczną niżby się zdawało. Chłopiec ten, który, byle widział w tem korzyść pieniężną, zrobiłby wszystko, i to bez wyrzutów sumienia — może nie bez szczególnej przykrości, dochodzącej do ataków nerwowych, ale niezbyt podpadającej pod pojęcie „wyrzutów”; który gdyby w tem znalazł korzyść, pogrążyłby w zgryzocie, nawet w żalobie, całe rodziny; ten chłopak, stawiający pieniądze ponad wszystko, ponad (nie mówiąc już o dobroci) najnaturalniejsze uczucia prostej ludzkości, ten sam chłopak stawiał jednak ponad pieniądze swój dyplom laureata konserwatorjum oraz swoją opinię w klasie fletu lub kontrapunktu. Toteż jego najwścieklejsze wybuchy, najbardziej ponure i niesprawiedliwione złe humory pochodziły z tego, co (generalizując z pewnością kilka wypadków niechęci) nazywał powszechnem szelmostwem. Pochlebiał sobie, że go uniknie, nie mówiąc nigdy o nikim, kryjąc swoje intencje, wystrzegając się całego świata. (Na moje nieszczęście — co miało się okazać po moim powrocie do Paryża — nieufność Morela nie stosowała się do szofera z Balbec, w którym z pewnością wyczuł podobnego sobie, to znaczy, sprzecznie z maksymą Morela, nieufnego w dobrem pojęciu słowa, nieufnego który milczy uparcie wobec porządných ludzi a natychmiast znajduje porozumienie z szują). Zdawało mu się — co nie było absolutnie fałszywe — że ta nieufność pozwoli mu zawsze wyjść z korzyścią z każdej sytuacji, przemknąć się bez niebezpieczeństw przez najdrażliwsze przygody, tak aby mu nie można było niczego nietylko dowieść ale nawet zarzucić w instytucie przy ulicy Bergère. Będzie pracował, stanie się sławny, zostanie może wciąż nieskazitelny, czcigodny — prezesem skrzypcowego *jury* na konkursach tego tak imponującego Konserwatorjum!

Ale rozbierając te sprzeczności, przypisujemy może za wiele logiki mózgowi Morela. W rzeczywistości, natura jego była doprawdy jak papier tak pognieciony na wszelkie sposoby, że niepodobna było coś odczytać. Zdawał się mieć zasady dość górne i posiadając wspaniały charakter pisma, zeszczonego straszliwą ortografią, spędzał całe godziny na pisaniu do brata że źle postąpił z siostrami, że jest ich starszym bratem, podporą, a do siostr, że popełniły jakąś niewłaściwość wobec niego samego.

Niebawem, pod koniec lata, kiedy się wysiadało z kolejki w Douville, słońce przyćmione mgłą tworzyło już tylko czerwony krąg na niebie jednostajnego koloru lila. Wielkiemu spokojowi, który zstępował na te gęste i słone łąki i który skłaniał wielu paryżan, przeważnie malarzy, do spędzania lata w Douville, towarzyszyła wilgoć, każąca im wcześniej wracać do małych will. W wielu mieszkaniach już się paliła lampa. Jedynie kilka krów zostawało na dworze; patrzyły na morze rycząc, gdy inne, bardziej zainteresowane ludzkością, kierowały swoją uwagę na nasze powozy. Jeden tylko malarz, ustawivszy stalugi na małej wyniosłości, pracował, starając się oddać ten wielki spokój, to uciszone światło. Może krowy miały mu nieświadomie i dobrowolnie posłużyć za modele, bo ich zaduma i ich samotna obecność, kiedy ludzie weszli już do domów, przyczyniała się na swój sposób do przemożnego wrażenia spoczynku, jakie wydziela wieczór.

W kilka tygodni później, transpozycja była nie mniej przyjemna, kiedy, z posuwaniem się jesieni, dni stały się bardzo krótkie i trzeba było odbywać tę drogę w nocy. Jeżeli byłem na jakiej wycieczce popołudniu, należało wracać się ubrać, najpóźniej o piątej, kiedy słońce, teraz okrągłe i czerwone, zeszło już do połowy skośnego lustra — niegdys nienawistnego — i niby jakiś grecki ogień zapalało morze w szybach wszystkich szaf na książki. Podczas gdy wkładał smoking, jakiś czarnoksięski gest wskrzesił owo żwawe i płochę *ja*, będące mojem *ja* wówczas gdym jechał z Robertem na obiad do Rivebelle, lub owego wieczora kiedym wierzył że zawiozę pannę de Stermaria na wyspę do Lasku; nuciłem bezwiednie tę samą melodię co wówczas; i dopiero spostrzegając to, poznawałem po piosence przygodnego śpiewaka, umięjącego w istocie tylko tę jedną. Za pierwszym

razem kiedyś nucił tę piosnkę, zaczynałem kochać Albertynę, ale sądziłem że jej nie poznam nigdy. Później, w Paryżu — wówczas gdy przestał ją kochać, i w kilka dni po tem jak ją posiadałem pierwszy raz. Teraz śpiewałem to samo kochając ją na nowo, w chwili gdy jechał z nią na obiad, ku wielkiemu żalowi dyrektora, obawiającego się że ja w końcu zamieszkać w la Raspelière i porzucę jego hotel: jakoż upewniał mnie, iż słyszał że tam panuje febra, idąca z bagien Bac i z ich „stagnancji”. Byłem szczęśliwy z tej wielorakości życia rozwijającego się na trzech planach; a przytem, kiedy się znów stajemy na chwilę dawnym człowiekiem, to znaczy różnym od tego jakim jesteśmy tak długo, wrażliwość, nie stepiona już przyzwyczajeniem, odczuwa najłżejsze wstrząsy tak żywych wrażeń, które każą błędnać wszystkiemu co je poprzedzało i których, dla ich siły, czepiamy się z dorywczym entuzjazmem pijaka.

Była już noc, kiedyśmy siadali do omnibusu lub wehikułu, mającego nas zawieźć na kolejkę. W hallu, prezydent z Caen powiadał:

— A, jedzcie państwo do la Raspelière! Dalipan, ma tupet ta pani Verdurin, kazać się wam tłuc godzinę po nocy poto aby zjeść poprostu obiad. A potem znów robić tę drogę o dziesiątej wieczór przy tym wietrze jak wszyscy djabli. Widać zaraz, że nie macie nic do roboty — dodał zacierając ręce.

Z pewnością prezydent mówił tak z urazy że go nie zaproszono, a także przez zadowolenie, jakie czerpią ludzie „zajęci” — choćby najgłupszą pracą — stąd że „nie mają czasu” na to co robi ktoś inny.

Niewątpliwie, godziwą rzeczą jest, że człowiek, który układa raporty, sumuje cyfry, odpowiada na listy w interesach, śledzi kursy giełdowe, że człowiek taki doznaje miłego uczucia wyższości, kiedy wam mówi podśmiechując się: „To dobre dla ludzi, co jak pan nie mają nic do roboty”. Ale ta wyższość objawiałaby się równie wgardliwie, bardziej nawet (bo ostatecznie i ludzie zajęci chodzą na prośzone obiady), gdyby waszą rozrywką było pisać *Hamleta*, lub bodaj czytać go. I w tem owi ludzie „zajęci” nie mają racji. Bo bezinteresowna kultura, która — zaskoczona niejako „na gorącym uczynku” — wydaje się im pociesznym zabijaniem czasu dla próżniaków, jest — o czem winnyby pomyśleć — tą samą, która w ich własnym zawodzie wyróżnia ludzi, może nie lepszych urzędników lub administratorów od nich samych, ale nakazujących szacunek swoim szybkim awansem, co sprawia że się o nich mówi: „Zdaje się, że to człowiek wszechstronnie wykształcony, człowiek zupełnie niepospolity.” Ale zwłaszcza prezydent nie zdawał sobie sprawy, że w tych obiadach w la Raspelière mnie się podobało właśnie to, że — jak sam powiadał słusznie, ale w sensie ujemnym — stanowiły one „istną podróż”, podróż której urok zdawał mi się tem żywszy przez to że nie była sama w sobie celem, że nie szukało się w niej przyjemności — ile że ta przyjemność wiązała się ze spodziewanem zebraniem, bardzo znowuż odmiennem od innych przez otaczającą atmosferę.

Była już teraz noc, kiedyśm zamieniał ciepło hotelu, będącego dla mnie ogniskiem domowym na wagon, do którego wsiadaliśmy i gdzie odbłask latarni na szybie oznajmiał, w momentach przystanku dychawicznej kolejki, że się przybyło na jakąś stację. Nie słysząc nazwy stacji i aby nie ryzykować że nas Cottard nie spostrzeże, otwierałem okno, ale zamiast „wiernych” wdierał się do wagonu tylko wiatr, deszcz, zimno. W ciemności widziałem wieś, słyszałem morze, byliśmy w szczerem polu. Zanim złączyliśmy się z gromadką, Albertyna przeglądała się w lusterku, wyjętem ze złotego nesaseru, który brała z sobą. W czasie pierwszych wizyt pani Verdurin prowadziła ją do gotowalni aby się ogarnęła przed obiadem; wówczas, w pełni głębokiego spokoju, w jakim żyłem od jakiegoś czasu, doznawałem lekkiego odruchu niepokoju i zazdrości że muszę rozstać się w sieni z Albertyną; przez czas który pozostawałem sam w salonie, pośród małego klanu, byłem tak niespokojny, tak wciąż zadawałem sobie pytanie co ona robi na górze, że nazajutrz, poprosiwszy pana de Charlus o wskazówki w tej mierze, zamówiłem telegraficznie u Cartiera najwykwintniejszy nesaser, który stał się radością Albertyny, a także i moją. Był dla mnie zakładem spokoju, a także starań mojej przyjaciółki. Bo ona z pewnością zgadła, że ja nie lubię kiedy znika bezemnie z panią Verdurin i zawsze dopełniała w wagonie przedobiedniej toalety.

Wśród „wiernych” pani Verdurin najwierniejszym ze wszystkich był obecnie od kilku miesięcy p. de Charlus. Regularnie trzy razy na tydzień, podróżni tkwiący w poczekalniach lub na peronie Doncierres-Ouest widzieli tego otyłego mężczyznę z siwymi włosami

mi, czarnymi węsami, z wargami ożywionymi szminką, mniej widoczną z końcem sezonu niż w lecie, kiedy jasny dzień uwydatniał jej barwy, a upał czynił ją wpół płynną. Kierując się do kolejki, baron nie mógł się wstrzymać — jedynie z nawyku znawcy, bo teraz miał w sercu uczucie, gwarantujące jego czystość lub bodaj (przeważnie) wierność — aby nie objąć tragarzy, żołnierzy, młodych ludzi w tenisowym stroju, ukradkowem, badawczem i nieśmiałem spojrzeniem, poczem spuszczał natychmiast powieki przymykając oczy, z namaszczaniem duchownego odmawiającego różaniec, z surowością nieskazitelnej małżonki lub dobrze wychowanej panienki. Wierni byli przekonani, że baron ich nie widział, tem bardziej że wsiadał do innego przedziału (często postępowała tak i księżna Szerbatow), jak człowiek, który nie wie, czy ktoś byłby rad pokazywać się w jego towarzystwie i zostawia każdemu swobodę zbliżenia się doń — o ile ktoś ma ochotę. Ochoty tej nie doświadczał w samych początkach doktor, który wołał, abyśmy barona zostawili samego w przedziale. Zręcznie maskując niezdecydowany charakter od czasu swej wielkiej kariery lekarskiej, profesor przechylał się z uśmiechem w tył; spoglądając z ponad binokli na Skiego, poczem rzekł przez złośliwość lub aby wydobyć opinię towarzyszy:

— Rozumiecie, gdybym był sam, gdybym był kawalerem... ale chodzi mi o żonę... Po tem coś mi pan powiedział, nie wiem doprawdy, czy nam wypada jechać z nim razem?... szepnął doktor.

— Co ty powiadasz? — spytała pani Cottard.

— Nic, nic, to ciebie nie obchodzi, to nie jest dla kobiet — odpowiadał mrużąc oko doktor z owem majestatycznym zadowoleniem z siebie, które było czemś pośrednim między jego z cicha pęk miną wobec uczniów i pacjentów a niepokojem towarzyszącym niegdyś jego dowcipom u Verdurinów. I dalej mówił cicho. Pani Cottard usłyszała jedynie słowa „bractwo” i „tapette”<sup>956</sup>, że zaś w słownictwie doktora pierwsze oznaczało rasę żydowską a drugie „wyparzoną gębę”, pani Cottard wywnioskowała z tego, że p. de Charlus musi być gadatliwym izraelitą. Nie zrozumiała, czemu to ma być powód aby trzymać barona na uboczu; toteż uważała za swój obowiązek naczelniczki klanu żądać aby go nie zostawiano samego. Puściliśmy się wszyscy ku przedziałowi pana de Charlus, prowadzeni przez niespokojnego wciąż Cottarda. Z kąta gdzie czytał tom Balzaka, p. de Charlus spostrzegł to wahanie; nie podniósł oczu. Ale jak głuchoniemi poznają z niewyczuwalnego dla innych przeciągu że ktoś zbliża się do nich z tyłu, tak on odznaczał się przeczuleniem, ostrzegającym go o czyimś chłodzie wobec niego. Przeczulenie to, jak się to zdarza we wszystkich dziedzinach, zrodziło w panu de Charlus imaginacyjne cierpienia. Jak neuropaci, którzy, czując najłżejszy chłód, wnoszą stąd że musi być okno otwarte o piętro wyżej, wpadają we wściekłość i zaczynają kichać, tak p. de Charlus, jeżeli ktoś miał przy nim nieswoją minę, wnioskował, że temu komuś powtórzono jakieś jego słowa o nim. Ale nie było nawet potrzeba aby ktoś miał minę roztargnioną, ponurą lub roześmianą; sam wymyślał te miny. W zamian za to, serdeczność łatwo maskowała mu obmowę o której nie wiedział. Odgadł za pierwszym razem wahanie się Cottarda; jakoż, o ile, ku zdziwieniu wiernych którzy nie sądzili aby baron, czytający ze spuszczonej oczami, mógł ich zauważyć, podał im rękę skoro się znaleźli w przyzwoitej odległości, wobec doktora poprzestał na lekkim ukłonie, ręką w szwedzkiej rękawiczce nie ujmując dłoni którą doktor doń wyciągał.

— Chcieliśmy koniecznie jechać razem z panem i nie zostawiać pana samego w tym kąciuku. To wielka przyjemność dla nas — rzekła pocziwie pani Cottard.

— Czuję się bardzo zaszczycony — wyrecytował baron kłaniając się chłodno.

— Byłam bardzo szczęśliwa, dowiedziawszy się, że pan definitywnie obrał tę okolicę aby w niej pomieścić swoje tabern... Miała powiedzieć *tabernakula*, ale to słowo wydało się jej nazbyt hebrajskie, niedelikatne wobec żyda, który mógłby w niem dostrzec aluzję. Toteż opamiętała się, aby wybrać inne ze swoich zwyczajnych uroczyстых wyrażań; „aby tam pomieścić, chciałam powiedzieć, pańskie penaty” (prawda, że te bóstwa również nie należały do religii chrześcijańskiej, ale do innej, umarłej od tak dawna, że nie ma już wyznawców których możnaby urazić). My, na nieszczęście, ze szkołami chłopców, ze szpitalem profesora, nie mogliśmy się nigdy zdomowić dłużej w jednym miejscu”.

I pokazując pudło, dodała:

<sup>956</sup>*tapette* — franc. wyrażenie gwarowe może oznaczać albo gadułę albo pederastę. [przypis redakcyjny]

— Widzi pan zresztą, o ile my, kobiety, jesteśmy nieszczęśliwsze od was, panów świata: nawet jadąc tak blisko do przyjaciół, musimy się obarczać całą gamą impedimentów.

Patrzałem przez ten czas na tom Balzaka w rękę barona. Nie był to egzemplarz broszurowany, kupiony przygodnie jak tom Bergotte'a, który p. de Charlus pożyczył mi za pierwszym pobytem. To była książka z jego biblioteki i jako taka nosiła dewizę: „Należy do barona de Charlus”, którą zastępowało niekiedy, świadcząc o książkowych upodobaniach Guermantów: *In proeliis non semper*, lub: *Non sine labore*. Ale ujrzymy niebawem, że zjawią się inne, a to dla zrobienia przyjemności Morelowi. Po jakimś czasie, pani Cottard obrała temat, który uważała za bardziej interesujący dla barona.

— Nie wiem, czy pan jest mojego zdania — rzekła po chwili — ale ja mam bardzo szerokie poglądy; wedle mnie, każda religja jest dobra, byle ją praktykować szczerze. Nie jestem jak ci ludzie, których widok... protestanta przyprawia o atak wścieklizny.

— Nauczono mnie, że moja religja jest prawdziwa — odparł p. de Charlus.

— To fanatyk! pomyślała pani Cottard; Swann, wyjąwszy ostatnie lata życia, był bardziej tolerancyjny; prawda że on był chrzczoney.

Otóż, wręcz przeciwnie, baron był nie tylko, jak wiadomo, chrześcijaninem, ale był pobożny na sposób średniowiecza. Dla niego, jak dla rzeźbiarzy XIII wieku, kościół chrześcijański był, w żywym znaczeniu słowa, zaludniony tłumem istot, które baron uważał za całkowicie realne, proroków, apostołów, aniołów, świętych wszelkiego rodzaju, otaczających wcielone Słowo, jego matkę i jej małżonka, Ojca Wiekuistego, wszystkich męczenników i doktorów, podobnych tym, co rzeźbionym tłumem cisną się w kruchcie lub wypełniają nawę katedr. Pośród nich wszystkich, p. de Charlus wybrał sobie za patronów i pośredników archaniołów Michała, Gabryjela i Rafała, i miewał z nimi częste rozmowy, iżby przekazali jego modły Ojcu przedwiecznemu, przed którego tronem przebywają. Toteż omyłka pani Cottard bardzo mnie ubawiła.

Aby opuścić teren religijny, powiedzmy, że doktor, przybywszy do Paryża ze szczupłym zasobem rad matki wieśniaczki, pochłonięty później przez ściśle fachowe studia, jakim ci, co chcą się wybić w karierze lekarskiej, zmuszeni są oddawać się przez szereg lat, nigdy nie starał się o głębszą kulturę. Nabył więcej autorytetu, ale nie więcej wyrobienia; wziął tedy dosłownie zwrot barona: „zaszczycony”; równocześnie sprawiło mu to przyjemność bo był próżny i przykrość bo był poczciwy. Biedny ten Charlus! — rzekł wieczorem do żony: przykro mi się zrobiło, kiedy powiedział, iż się czuje zaszczycony tem że jedzie z nami. Znać, że ten nieborak nie ma żadnych stosunków, płaszczy się.”

Ale niebawem, nie potrzebując nawet miłosiernej inspiracji pani Cottard, wierni zdolali poskromić niemiłe uczucie, jakiego wszyscy mniej lub więcej doznawali zrazu w towarzystwie pana de Charlus. Bezwątpienia, w obecności barona wciąż mieli w pamięci rewelacje Skiego o nieprawomyślności seksualnej ich towarzysza podróży. Ale sama ta osobliwość wywierała na nich pewien urok. Dawała ona rozmowie barona (zresztą niepospolitej, ale w rzeczach, których oni przeważnie nie mogli ocenić) smak, sprawiający, że przy niej konwersacja najbardziej zajmujących ludzi, nawet samego Brichot, zdawała się nieco mdła. Od początku zresztą zgodzono się, że baron jest inteligentny. „Geniusz może sąsiadować z szaleństwem” — wygłosił doktor; i nawet gdy księżna Szerbatow, żadna objaśnień, nalegała, nie rzekł w tym przedmiocie nic więcej, ile że ten aksjomat stanowił wszystko co doktor wiedział o geniuszu i nie zdawał mu się zresztą równie dowiedziony jak coś co tyczy tyfusu lub artretyzmu. Że zaś doktor zrobił się pyszny a pozostał źle wychowany, odpowiedział: „Żadnych pytań, księżno; proszę mnie nie męczyć, jestem nad morzem dla wypoczynku. Zresztą nie rozumiałaby pani, nie zna pani medycyny.” I księżna milkła, przepraszając doktora, uważając go za uroczonego człowieka i rozumiejąc że sławy nie zawsze są przystępne.

W tym pierwszym okresie uznano tedy pana de Charlus inteligentnym, mimo jego przywary, lub tego co się tak powszechnie nazywa. Teraz, nie zdając sobie z tego sprawy, właśnie z powodu tej przywary uważano go za inteligentniejszego od innych. Najprostsze zdania, jakie, zręcznie wyciągany na słowo przez akademika lub przez rzeźbiarza, p. de Charlus wygłaszał o miłości, zazdrości, piękności, miały, z powodu jego osobliwego, tajemnego, wyrafinowanego i monstualnego doświadczenia, ów urok zmiany klimatu, jaki psychologia — analogiczna do tej, którą nas karmiła zawsze nasza literatura dramatyczna — przybiera w jakiejś sztuce rosyjskiej lub japońskiej, granej przez tamtejszych

artystów. Czasem, kiedy baron nie słyszał, pozwalano sobie jeszcze na jakiś tani żarcik: „Och! — szeptał rzeźbiarz, widząc młodego funkcjonariusza kolejowego o długich rękach bajadery, za którym p. de Charlus bezwiednie pobiegł oczami — jeżeli baron zacznie robić oko do konduktora nie prędko zajedziemy, pociąg gotów jechać wspaniale. Spójrzcie tylko, jak on na niego patrzy; ten pociąg to istny pociąg płciowy”. Ale w gruncie, kiedy pana de Charlus nie było, czuło się niemal zawód podróżowania wśród ludzi takich jak wszyscy, nie mając przy sobie tej wymalowanej brzuchatej i skrytej osobistości, podobnej do jakiejś puszeki o egzotycznym i podejrzanym pochodzeniu, wydającej dziwny zapach owoców, samą myślą o ich spożyciu przyprawiającej o mdłości. Z tego punktu, wiernych płci męskiej czekały żywsze satysfakcje w krótkiej drodze między Saint-Martin-du-Chêne, gdzie wsiadał p. de Charlus, a Doncières, gdzie przybywał Morel. Bo dopóki skrzypka nie było z nimi (i jeżeli panie, oraz Albertyna, skupiając się osobno aby nie krępować rozmowy, trzymały się zdala), p. de Charlus nie krępował się, aby nie robić wrażenia że unika pewnych tematów i dość swobodnie mówił o tem, „co jest przyjęte nazywać *podejrzaniem obyczajami*”. Albertyna nie mogła go krępować, bo trzymała się zawsze z paniami, przez delikatność panny, która nie chce tamować swobody swoją obecnością. Co do mnie, znośłem łatwo brak jej bezpośredniego sąsiedztwa, ale pod warunkiem, żeby była w tym samym przedziale. Nie czując już wcale zazdrości a miłości niewiele, nie myślałem o tem co Albertyna robi w dni gdy jej nie widzę; ale kiedy z nią był razem, proste przepierzenie mogące w ostateczności osłaniać zdradę, było mi czemś nie do zniesienia. Kiedy Albertyna szła z paniami do sąsiedniego przedziału, po chwili, nie mogąc wytrzymać w miejscu, nie dbając o osobę mówiącą coś właśnie — Brichota, Cottarda, lub Charlusa, którym nie mogłem wyjaśnić przyczyn mojej dezercji — wstawiałem, zostawiałem ich i szedłem do przedziału obok, aby się przekonać, czy tam się nie dzieje nic podejrzanego. Aż do Doncières, p. de Charlus, nie bojąc się zgorzyc nikogo, mówił czasem bardzo jaskrawo o obyczajach, które, jego zdaniem, nie są same w sobie niczem dobrem ani złem. Robił to przez spryt, aby okazać szerokość poglądów, przekonany że jego własne obyczaje nie budzą podejrzeń w gromadce wiernych. Wiedział, że istnieje we wszechświecie kilka osób, „nie mających (wyrażenie, do którego później przywykłem) wątpliwości na jego punkcie”. Ale wyobrażał sobie, że tych osób jest nie więcej niż trzy lub cztery i że ani jedna z nich nie bawi nad morzem. To złudzenie może dziwić ze strony kogoś tak inteligentnego, tak czujnego. Nawet co do tych, których baron uważał za mniej lub więcej poinformowanych, pochlebiał sobie, że te ich pojęcia są jedynie mgliste i miał nadzieję, wedle tego co im w jakimś wypadku powie, uchronić daną osobę od podejrzeń interlokutora, przez grzeczność udającego że przyjmuje wersję barona. Nawet domyślając się co ja mogę wiedzieć lub przypuszczać, baron wyobrażał sobie, że opinia, którą uważał u mnie za znacznie dawniejszą niż była w istocie, jest bardzo mglista. Sądził iż wystarczy mu zaprzeczyć w tem lub owem, aby mu wierzone, podczas gdy przeciwnie, o ile świadomość ogólna wyprzedza zawsze znajomość szczegółów, ułatwia ona nieskończenie odkrycie tych szczegółów: zniweczywszy dar niewidzialności, nie pozwala już podejrzanemu osobnikowi ukrywać wszystkiego co mu się podoba. Z pewnością, kiedy p. de Charlus, zaproszony na obiad przez którego z „wiernych” lub przyjaciela wiernych, zachodził z daleka, aby wśród dziesięciu wymienionych nazwisk przemycić nazwisko Morela, nie domyślał się prawie, że pod zawsze inne motywy korzyści lub przyjemności jakimi baron motywował chęć spotkania u kogoś Morela, gospodarze, udając że mu całkowicie wierzą, podstawiali rację jedyną, zawsze tę samą (którą on uważał za nieznaną nikomu), mianowicie tę, że baron kocha skrzypka. Toż samo pani Verdurin, udając że zawsze całkowicie uznaje pół artystyczne pół humanitarne pobudki, jakimi p. de Charlus tłumaczył swoje zainteresowanie się Morelem, nie przestawała serdecznie dziękować baronowi za jego wzruszającą — jak mówiła — dobroć dla skrzypka. Otóż, jakżeby się zdziwił p. de Charlus, gdyby, pewnego dnia kiedy Morel i on spóźnili się i nie przyjechali kolejką, usłyszał, jak pryncypalka mówi: „Czekamy już tylko na trzecią pleć”. Baron byłby zdumiony tem bardziej, iż nie ruszając się prawie z la Raspelière, pełnił tam funkcje kapelana, klasycznego *labusia*, i czasami (kiedy Morel miał urlop na dwie doby) nocował tam dwa dni zrzędu. Pani Verdurin dawała im dwa połączone pokoje i aby ich ośmielić, powiadała: „Jeżeli macie ochotę muzykować, nie krępujcie się, mury są grube jak w fortecy, nikt nie mieszka na tem piętrze, a mój mąż

śpi jak susel.” W te dnię, p. de Charlus luzował księżnę jadąc po gości na pociąg, tłumaczył nieobecność pani Verdurin jej stanem zdrowia, który opisywał tak wymownie, że goście wchodzili z odpowiednimi minami i wydawali krzyk zdumienia, widząc witającą ich pryncypalkę, rzeżką, w wygorsowanej sukni.

Bo p. de Charlus stał się chwilowo dla pani Verdurin wiernym z wiernych, drugą księżną Szerbatow. Pani Verdurin była o wiele mniej pewna pozycji światowej barona niż pozycji księżnej, wyobrażając sobie, że jeżeli księżna żyje jedynie w tem małym kółku, to przez wzgardę dla innych a przez predylekcję do tych wybranych. Ponieważ ta mistyfikacja była właśnie specjalnością Verdurinów, którzy traktowali jako „nudziarzy” wszystkich u których nie mogli być, ledwie do wiary jest, aby pryncypalka mogła uważać księżnę za duszę niezłomną, nienawidzącą „szyku”. Ale faktem jest, że wierzyła w to, przekonana iż ta wielka dama również szczerze i przez skłonności intelektualne unika nudziarzy.

Ilość „nudziarzy” zmniejszała się zresztą w pojęciu Verdurinów. Życie kąpielowe odejmowało wizycie u nich konsekwencje, jakeimi taka wizyta groziłaby w Paryżu. Światowi ludzie, bawiący w Balbec bez żon (co ułatwiało sytuację), rozwijali w la Raspelière wszystkie uroki i z nudziarzy stawali się przemili. Tak było z księciem Gilbertem, którego nieobecność żony nie skłoniłaby do „kawalerskiej” wyprawy do Verdurinów, gdyby magnes dreyfusizmu nie był tak potężny, że jednym zamachem kazał mu przebyć stoki wiodące do la Raspelière. Nieszczęściem, tego dnia pryncypalki nie było w domu. Zresztą pani Verdurin nie była pewna, czy księżę Gilbert i p. de Charlus są z jednego świata. Baron powiedział wprawdzie, że księżę Błażej jest jego bratem, ale to było może kłamstwo awanturnika. Mimo iż okazał się tak elegancki, tak miły, tak „wierny”, pryncypalka wahała się niemal, czy go prosić razem z księciem Gilbertem. Poradziła się Skiego i Brichota.

— Baron i księżę de Guermantes, czy to idzie razem?

— Nawet bez mydła.

— To mnie nie obchodzi — podjęła pani Verdurin z irytacją, ja się pytam, czy oni pasują z sobą.

— Och, pani, to są rzeczy, które bardzo trudno wiedzieć...

Pani Verdurin nie miała żadnej ukrytej myśli. Nie miała wątpliwości co do obyczajów barona; ale wyrażając się w ten sposób, nie myślała o tem; chodziło jej tylko o to, czy można zaprosić księcia Gilberta i pana de Charlus, czy to się godzi z sobą. Nie wkładała żadnej dwuznaczności w te zwroty, mające kurs w cyganerii artystycznej. Aby się popisać księciem Gilbertem, chciała go zabrać po śniadaniu na dobroczynny bazar, gdzie miejscowi marynarze mieli inscenizować odpływanie okrętu. Ale nie mając czasu zająć się wszystkim, przekazała swoje funkcje wiernemu z wiernych, baronowi. „Rozumie pan, chodzi o to żeby nie tkwili nieruchomo jak kołki, niech się kręcą, niech się wiercą, żeby widać było ruch, nie wiem jak się nazywa to wszystko. Ale pan bywa tak często w porcie, mógłby pan, bez zbyteńgo kłopotu, kazać zrobić próbę. Musi się pan rozumieć na tem lepiej odemnie, panie de Charlus, jak się postępuje z majtkami. Ale ostatecznie, za wiele sobie zadajemy kłopotu dla pana de Guermantes. To może jakiś głupiec z Jockey-clubu. Och, Boże, ja się tak wyrażam o Jockey-clubie, a zdaje mi się, że pan też jest z tej paczki. He, baronku, nie odpowiadasz, jesteś pan z tej paczki? Nie chce pan iść z nami? O, ma pan książkę, którą właśnie dostałam: myślę, że to pana zajmie. To nowy Roujon. Tytuł wcale ładny: „Wśród mężczyzn.”

Co do mnie, byłem bardzo rad, że dość często powierzano panu de Charlus funkcję księżnej Szerbatow, bo byłem bardzo źle z księżną, z racji błażej a głębokiej zarazem. Pewnego dnia, kiedy się znalazł w kolejce, jak zawsze obsypując uprzejmościami księżnę Szerbatow, ujrzałem wsiadającą panią de Villeparisis. Przybyła w istocie spędzić kilka tygodni u księżnej de Luxembourg, ale przykuty codzienną potrzebą widzenia Albertyny, nigdy nie uczyniłem zadość mnogim zaproszeniom margrabiny i jej dostojnej gospodyni. Uczułem wyrzut, widząc przyjaciółkę babki, i przez prosty obowiązek (nie opuszczając księżnej Szerbatow) rozmawiałem dość długo z panią de Villeparisis. Nie wiedziałem zresztą absolutnie, że pani de Villeparisis wie doskonale kim jest moja sąsiadka, ale że nie chce jej znać. Na następnej stacji, pani de Villeparisis opuściła wagon; wyrzuciłem sobie nawet, że nie pomogłem jej wysiąść; siadłem z powrotem przy księżnej. Ale możnaby rzec, iż dokonała się nagle zmiana: kataklizm częsty u osób, których sytuacja jest

niepewna i które boją się że się słyszało o nich co złego, że się nimi gardzi. Zatopiona w *Revue des Deux-Mondes*, pani Szerbatów ledwie odpowiadała na moje pytania i oświadczyła w końcu, że ją przyprawiam o migrenę. Nie miałem pojęcia, w czym dopuściłem się zbrodni. Kiedym się żegnał z księżną, zwyczajny uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy, sucho skinęła głową, nie podała mi nawet ręki i nigdy nie odezwała się do mnie od tego czasu. Ale musiała coś mówić — nie wiem co — Verdurinom; bo z chwilą gdy się ich pytał, czy nie dobrze by było żebym zrobił jakąś grzeczność księżnej Szerbatow, wszyscy wykrzyknęli chórem: „Nie, nie, nie! za nic! ona nie lubi grzeczności!” Nie czyniono tego poto aby mnie z nią poróżnić, ale zdołała wmówić, że jest niewrażliwa na nadskakiwania, niedostępna próżnościom świata. Znacie polityka, który uchodzi za najbardziej niezłomnego, nieprzejednanego, nieprzystępnego od czasu jak jest przy władzy; otóż, trzeba go było widzieć w czasie nielaski, jak nieśmiało, z istic miłosnym uśmiechem, żebrał wyniosłego ukłonu byle dziennikarza; trzeba było widzieć przeobrażenie się Cottarda, którego nowi pacjenci brali za człowieka ze stali, i wiedzieć jakie zawody, jakie klęski snobizmu stworzyły pozorną dumę, powszechnie uznany antysnobizm księżnej Szerbatow, aby zrozumieć, iż regułą — z wyjątkami oczywiście — jest fakt, że ludzie twardzi to są odrzuceni przez świat słabeusze, i że jedynie silni, mało się troszczący o to czy świat ich chce czy nie, posiadają ową dobroć którą gmin bierze za słabość.

Zresztą nie powinienem sądzić surowo księżnej Szerbatow. Jej wypadek jest tak częsty! Pewnego dnia, na pogrzebie któregoś z Guermantów, wybitny człowiek, znalazłszy się koło mnie, wskazał mi jakiegoś smukłego i urodziwego pana. „Ze wszystkich Guermantów — rzekł — ten jest najniesłychańszy, najosobliwszy. To brat księcia Błazeja.” Odpowiedziałem niebacznie, że się myli, że ten pan, nawet nie żaden krewny Guermantów, nazywa się Fournier-Sarlovéze. Wybitny człowiek odwrócił się plecami i nigdy mi się odtąd nie odklonił.

Wielki muzyk, członek Instytutu, wysoki dygnitarz i znajomy Skiego, przejeżdżał przez Harembouville, gdzie miał siostrzenicę i zjawił się na środzie u Verdurinów. P. de Charlus był z nim specjalnie miły, na prośbę Morela, a zwłaszcza dlatego, aby, za powrotem do Paryża, Akademik ów pozwolił mu asystować na różnych prywatnych produkcjach, próbach etc., gdzie grywał Morel. Ujęty tem Akademik, zresztą przemiły człowiek, przyrzekł i dotrzymał słowa. Baron był bardzo wzruszony uprzejmością dygnitarza (osobiście zresztą wyłącznie i głęboko kochającego kobiety); ułatwieniami jakich mu dostarczył w widywaniu Morela w owych oficjalnych miejscach, dokąd profani nie wnikają, sposobnościami popisu dostarczonemi przez sławnego artystę młodemu wirtuozowi, którego specjalnie forytował w głośniejszych audycjach. Takie okazje pozwalają się artyście wybić z pomiędzy innych, choćby równych talentem. Ale p. de Charlus nie domyślał się, że winien był mistrzowi tem większą wdzięczność, ile że ów doskonale znał stosunki łączące skrzypka z jego szlachetnym protektorem: zasługa zatem była podwójna, lub, jeśli ktoś woli, podwójna wina. Mistrz faworyzował te stosunki, z pewnością bez sympatji, nie zdolny zrozumieć innej miłości niż miłość kobiety, która natchnęła całą jego muzykę; ale czynił to przez indyferentyzm moralny, przez zawodową uczynność i usłużność, przez światową uprzejmość, przez snobizm. Tak dalece nie miał wątpliwości co do charakteru tych stosunków, że od pierwszego obiadu w la Raspeliere, mówiąc o panu de Charlus i o Morelu, zapytał Skiego, tak jakby pytał o normalną parę kochanków: „Czy oddawna są z sobą?” Ale był zanadto dobrym światowcem, aby cośkolwiek okazać samym zainteresowanym; w razie gdyby wśród kolegów Morela wszczęły się komeraże, gotów był poskromić je i uspokoić Morela, powiadając po ojcowsku: „Mówią to dziś o wszystkich.”

I nie przestawał świadczyć baronowi grzeczności, które panu de Charlus wydawały się urocze ale naturalne; baron niezdolny był przypuścić u dostojnego mistrza tyle zepsucia lub tyle cnoty. Bo nikt nie był dość nikczemny, aby powtórzyć baronowi dwuznaczni ki jakie puszczano o Morelu poza jego plecami. Mimo to, prosta ta sytuacja wystarczy jako dowód, że nawet owa powszechnie zozydzona rzecz, która nie znalazłaby nigdzie obrońcy: „plotka”, posiada swoją wartość psychologiczną, czy kiedy dotyczy nas samych i staje się nam przez to osobliwie nieprzyjemna, czy kiedy nam powiada coś nowego o kimś trzecim. Plotka nie pozwala umysłowi usypiać się sztucznym obrazem, stanowiącym pozór rzeczywistości. Odwraca ten obraz z magiczną zręcznością idealistycznego filozofa i ukazuje nam nagle niepodejrzewaną podszewkę. Czyż mógłby p. de Charlus

wyobrazić sobie te słowa, wyrzeczone przez pewną czułą krewniaczkę: „Jak chcesz, aby Mémé kochał się we mnie, zapominasz że jestem kobietą!” A przecież osoba ta była szczerze, głęboko przywiązana do pana de Charlus. Jak się zatem dziwić, że u Verdurinów, na których przywiązanie i dobroć nie miał żadnego prawa liczyć, słowa mówione poza jego plecami (a nie były to, jak się okaże, tylko słowa) były tak różne od tego co sobie wyobrażał, to znaczy od prostego odbicia tego co mówiono w jego obecności. Jedyne to stroiło przyjaznymi godłami idealny domek, gdzie p. de Charlus zachodził czasami marzyć w samotności, kiedy odtwarzał sobie na chwilę wyobraźnią pojęcie Verdurinów o nim. Atmosfera była tak sympatyczna, tak serdeczna, odpoczynek tak krzepiący, że kiedy p. de Charlus, przed zaśnięciem, zaszedł tam odpocząć chwilę po swoich troskach, nie wychodził stamtąd nigdy bez uśmiechu. Ale dla każdego z nas ten rodzaj domku jest podwójny: nawprost tego, który uważamy za jedyne, znajduje się drugi, zazwyczaj niewidzialny naszym oczom — prawdziwy, symetryczny z tym który znamy — ale bardzo odmienny; nieoczekiwana ornamentacja tego drugiego domku przerażałaby nas wstrętami symbolami niepodjętą przez nas wrogości. Co za zdumienie dla pana de Charlus, gdyby, dzięki jakiejś plotce wszedł do tego przeciwległego domku, niby przez kuchenne schody, gdzie widnieją sprośne napisy, nabazgrane koło drzwi ręką niezadowolonych sklepikarzy lub oddalonych służących. Ale, tak samo jak nam brakuje owego zmysłu orientacji, który posiadają niektóre ptaki, tak samo brak nam zmysłu widzialności, a także zmysłu odległości; wyobrażamy sobie, że mocno się nami interesują ludzie, którzy przeciwnie nigdy o nas nie myślą, a nie podejrzewamy, że przez ten czas jesteśmy znowuż jedyną troską innych. I tak p. de Charlus żył w błędzie, jak ryba przeświadczona iż woda w której pływa ciągnie się poza szybą akwarjum ukazującą jej odbicie, podczas gdy nie widzi, tuż koło siebie, w cieniu, przechodnia z rozbawieniem śledzącego jej obroty, lub wszechpotężnego hodowcy, który, w nieprzewidzianej i złowrogiej chwili, odległej jeszcze dla barona (owym hodowcą stanie się dlań w Paryżu pani Verdurin), wyjmie ją bez litości z miłego jej środowiska, aby ją rzucić w inne. Co więcej, narody, brane jedynie jako zbiorowisko jednostek, mogą przedstawiać rozleglejsze, ale identyczne w szczegółach przykłady tej głębokiej, upartej i niepokojącej ślepoty. Aż dotąd, ślepotą ta, będąca przyczyną że p. de Charlus wygłaszał w małej „paczce” rzeczy zbytecznie chytre lub zuchwałe, budzące kryjome uśmiechy, nie miała jeszcze dlań (ani nie miała mieć w Balbec) poważnych następstw. Trochę białka, cukru, lekka arytmia, nie przeszkadzają życiu iść zwykłym trybem u kogoś kto tego nawet nie spostrzega, gdy jedynie lekarz widzi zapowiedź katastrof. Obecnie, platoniczny lub mniej platoniczny pociąg pana de Charlus do Morela kazał baronowi wychwalać jedynie w nieobecności Morela jego urodę, w przekonaniu że to będzie rozumiane całkiem niewinnie. Postępował w ten sposób jak człowiek inteligentny, który, stając przed sądem, nie lęka się wejść w szczegóły, na pozór dlań niekorzystne, ale właśnie dlatego naturalniejsze i mniej pospolite niż melodramatyczne zakłęcia o swojej niewinności. Z tą samą swobodą, wciąż między Doncières-Ouest a Saint-Martin-du-Chêne — lub odwrotnie — p. de Charlus chętnie mówił o ludziach mających podobno bardzo szczególne obyczaje, i dodawał nawet: „Ostatecznie, mówię *szczególne*, sam nie wiem czemu, bo nie ma w tym nic tak szczególnego”; aby dowieść samemu sobie, jak się czuje swobodny wobec słuchaczy. I był w istocie swobodny, pod warunkiem że on sam kierował rozmową i że był pewien niemej i uśmiechniętej publiczności, rozbrojonej łatwością lub dobrem wychowaniem.

Kiedy p. de Charlus nie mówił z podziwem o piękności Morela, tak jakby ona nie miała żadnego związku z pewną skłonnością — zwaną *zбочeniem* — rozprawiał o tem zбочeniu, ale tak jakby ono nie miało z nim nic wspólnego. Czasem nawet nie wahał się nazwać go po imieniu. Kiedy, spojrzawszy na piękną oprawę Balzaka, spytałem barona co najwyżej ceni z *Komedji ludzkiej*, odpowiedział, jakgdyby ścigając swoją *idée fixe*:

— Oba rodzaje, miniatury jak *Proboszcz Z Tours* lub *Kobieta porzucona*, albo wielkie freski jak serja *Straconych złudzeń*. Jakto! pan nie zna *Straconych złudzeń*! To takie piękne. Chwila, gdy w *Cierpieniach wynalazcy* Karlos Herrera pyta o nazwę zamku, który mija właśnie jego powóz: to Rastignac, gniazdo młodego człowieka, którego kochał niegdyś. I wówczas ksiądz popada w zadumę, którą Swann nazywał — bardzo dowcipnie *Tristesse*



d'Olympio pederastji. A śmierć Lucjana! nie przypominam sobie kto taki<sup>957</sup> — musiał to być człowiek pełen smaku — kiedy go pytano, jakie wydarzenie najbardziej go zmartwiło w życiu, odpowiedział: „Śmierć Lucjana de Rubembré w *Blaskach i nędzach*”.

— Wiem, że Balzak modny jest w tym roku, jak w zeszłym roku pesymizm — przerwał Brichot. — Ale choćbym miał zasmucić dusze cierpiące na kult balzakowski, nie pretendując, Boże chroń, do roli żandarma literatury ani mając zamiar sporządzić inwentarz błędów gramatycznych, przyznaję, że ten obfity improwizator, którego zdumiewające elukubracje zdaje się pan osobliwie przeceniać, wydał mi się zawsze skrybą niedość skrupulatnym. Czytałem te *Stracone złudzenia*, o których pan mówi, baronie; czytałem, siląc się wykrzesać z siebie zapal adepty, i wyznaję w prostocie ducha, że te felietonowe romanse, kwintesencja patosu i galimatjasu do ikstej potęgi (*Szczęście Estery*, *Dokąd prowadzą złe drogi*, *Po czemu miłość wypada starcom*), robiły na mnie zawsze wrażenie misterjów budy jarmarcznej, wyniesionych niewytłumaczonym faworem chwili do wyżyn arcydzieła.

— Mówi pan to, bo pan nie zna życia — rzekł baron, podwójnie podrażniony, bo czuł, że Brichot nie zrozumiałby ani jego racyj artystycznych ani innych.

— Rozumiem — odparł Brichot — że, mówiąc słownikiem mistrza Rabelego, chce pan rzec, że jestem sorbonistą, sorbonitrąbą i sorbonosłem. Jednakże, tak samo jak inni tu obecni, lubię aby mi książka dawała wrażenie szczerości i życia, nie jestem z gatunku tych klerków...

— Kwadransik Rabelego — przerwał doktor Cottard, już nie tonem wahania, ale dowcipnej pewności.

— ...którzy uprawiają kult literatury wedle reguły *Abbaye-aux-Bois* w obediencji dla pana wicehrabiego de Chateaubriand, wielkiego mistrza dętola, wedle ścisłej reguły humanistów. Pan wicehrabia de Chateaubriand...

— Chateaubriand? z kartofelkami? — przerwał Cottard.

— To jest patron tego bractwa — ciągnął Brichot, nie zwracając uwagi na koncept doktora, który w zamian, przerażony zwrotem Akademika, spojrział niespokojnie na pana de Charlus. Cottard uważał, że Brichot okazał brak taktu, natomiast kalambur Cottarda spowodził subtelną uśmiech na wargi księżnej Szerbatow.

— Z naszym profesorem gryząca ironia doskonałego sceptyka nigdy nie traci swoich praw — rzekła uprzejmie, aby okazać, że „dowcip” lekarza nie przeszedł niezauważony.

— Mędrzec jest z konieczności sceptykiem — odparł doktor. „Cóż ja wiem”? *gnoti seauton*, powiadał Sokrates. To bardzo słuszne, nadmiar we wszystkim jest wadą. Ale głupieję z podziwu, kiedy pomyślę, że to wystarczyło, aby przechować imię Sokratesa do naszych czasów. Cóż takiego jest w tej filozofji? Ostatecznie, nie wiele. Kiedy się pomyśli, że Charcot i inni dokonali prac tysięcy razy wybitniejszych — i które przynajmniej opierają się na czymś — zanik reakcji źrenic jako objaw paraliżu postępowego — i że ich prawie że zapomniano! W rezultacie, Sokrates, to nie żadna nadzwyczajność. To są ludzie, którzy nie mieli nic do roboty, pędzili życie przechadzając się i bawiąc w dysputy. To tak jak Chrystus: „Kochajcie się nawzajem”, to bardzo ładne.

— Mój drogi — prosiła pani Cottard.

— Oczywiście, żona protestuje, to są wszystko neuropatki.

— Ależ mężusiu, nie jestem neuropatką — szepnęła pani Cottard.

— Jaktó! nie jest neuropatka! kiedy syn jest chory, ona zdradza symptomy bezsenności. Ale ostatecznie uznaję, że Sokrates *et consortes* to jest potrzebne dla wyższej kultury, żeby mieć cytaty na pokaz. Cytuję zawsze *gnoti seauton* uczniom z pierwszego kursu. Stary Bouchard, dowiedziawszy się o tem, powińszował mi.

— Nie należą do fanatyków formy dla formy, tak jak nie snobowałbym się w poezji na wyrafinowane rymy — podjął Brichot. Ale, bądź co bądź, *Komedja ludzka* — bardzo mało ludzka — za wiele wykazuje przeciwieństwa do tych dzieł, w których forma przerasta treść, jak powiada poczywy drań Owidjusz. I wolno wybrać ścieżkę pośrednią, która wiedzie do probostwa w Meudon lub do pustelni w Ferney, w równej odległości od *Vallée-aux-Loups*, gdzie René wspaniale dopełniał obowiązków pontyfikatu bez litosierdzia, i od

<sup>957</sup>nie przypominam sobie kto taki — Oskar Wilde. [przypis tłumacza]

les Jardies, gdzie Honoré de Balzac, szarpany przez komorników, nie przestawał gryzmolić na intencję swojej Polki, jako gorliwy apostoł galimatjasu.

— Chateaubriand jest o wiele żywszy niż pan sądzi, a Balzac jest i tak wielki pisarz — odparł p. de Charlus, jeszcze zbyt nasiąknięty gustem Swanna, aby móc cierpliwie znosić Brichota. Balzac znał nawet te namiętności, które cały świat ignoruje, albo bada jedynie po to aby je piętnować, Nie mówiąc o nieśmiertelnych *Straconych złudzeniach*, *Sarazine*, *Dziewczyzna o złotych oczach*, *Namiętność w pustyni*, nawet dość enigmatyczna *Żółta kochanka*, starczą na poparcie tego co mówię. Kiedym wspomniał Swannowi o tej *wynaturzonej* stronie Balzaca, powiedział: „Jest pan tego samego zdania co Taine.” Nie miałem zaszczytu znać pana Taine — dodał p. de Charlus z tym drażniącym zwyczajem niepotrzebnego „pan”, jaki mają ludzie światowi, tak jakby uważali, że tytułując wielkiego pisarza *per* pan, wyświadczają mu zaszczyt, może zachowują dystans i stwierdzają jasno, że go nie znają. — Nie znałem pana Taine, ale czułem się bardzo zaszczycony, że jesteście tego samego zdania.

Zresztą, mimo tych śmiesznych światowych nawyków, p. de Charlus był bardzo inteligentny i gdyby jakieś dawne małżeństwo spokrewniło jego rodzinę z rodziną Balzaka, prawdopodobnie sprawiłoby mu to (nie mniej zresztą niż samemu Balzakowi) zadowolenie, którym nie omieszkałby jednak paradować jako oznaką cudownej łaskawości.

Czasami na stacji tuż pod Saint-Martin-du-Chêne, jacyś młodzi ludzie wsiadali do pociągu. P. de Charlus nie mógł się wstrzymać od przyglądania się im, że jednak równocześnie maskował to zainteresowanie, robiło ono wrażenie, że pokrywa jakiś sekret, specjalniejszy nawet od prawdziwego sekretu; możnaby rzec że baron ich zna, okazywał to nawet mimowoli dopełniwszy ofiary, zanim się odwrócił do nas, niby dzieci, którym, naskutek zwady między rodzicami, zabroniono się witać z kolegą, ale które, skoro go spotkają, nie mogą się powstrzymać od ruchu głowy, zanim się poddadzą dyscyplinie preceptora.

Po zacerpniętem z greczyzny słowie, jakiego p. de Charlus użył w aluzji do *Tristesse d'Olympio* w *Blaskach i nędzach*, Ski, Brichot i Cottard spojrzeli po sobie z uśmiechem mniej może ironicznym niż nacechowanym zadowoleniem, jaki mieliby przy obiedzie ludzie, którym udałoby się rozgadać Dreyfusa o jego własnej sprawie, lub cesarżową Eugenję o latach jej panowania. Spodziewano się pociągnąć barona za język na ten temat, ale już było Doncieres, gdzie Morel miał się z nami spotkać. Wobec niego, p. de Charlus bardzo pilnował się w rozmowie i kiedy Ski chciał go sprowadzić na miłość Karlosa Herrery do Lucjana de Rubempré, baron przybrał minę niezadowoloną i tajemniczą, w końcu zaś, widząc że go nie słuchają, surową i karcącą minę ojca, słyszącego że ktoś mówi nieprzyzwoitości przy jego córce. Kiedy Ski upierał się przy tym temacie, p. de Charlus, wybałuszając oczy, podnosząc głos i pokazując Albertynę (która zresztą nie mogła słyszeć, zajęta rozmową z panią Cottard i z księżną Szerbatow), rzekł znacząco tonem człowieka, który chce dać lekcję ludziom źle wychowanym:

— Sądzę, że byłby czas przejść na tematy, zdolne interesować tę młodą panienkę.

Ale zrozumiałem jasno, że dla barona młodą panienką była nie Albertyna lecz Morel; dowiódł zresztą później ścisłości mojej interpretacji wyrażeniami, któremi się posłużył, prosząc aby nie prowadzić tych rozmów przy Morelu. „Wie pan — rzekł do mnie — on nie jest wcale tem co by pan mógł przypuszczać; to chłopak bardzo uczciwy, do dziś pozostał bardzo moralny, bardzo serjo”. I czuło się przy tych słowach, że p. de Charlus uważał inwersję za niebezpieczeństwo równie groźne dla młodych ludzi jak prostytucja dla kobiet, i że jeżeli się posługuje dla Morela epitetem „serjo”, to w tym sensie, jaki on przybiera w zastosowaniu do młodej robotniczki.

Aby odmienić rozmowę, Brichot spytał mnie, czy jeszcze długo zamierzam zostać w Incarville. Daremnie kilka razy zwróciłem mu uwagę, że ja mieszkam nie w Incarville lecz w Balbec, wciąż popadał w ten błąd, określając tę część wybrzeża nazwą Incarville albo Balbec-Incarville. Bywają ludzie, którzy mówią o tych samych rzeczach co my, oznaczając je nazwą nieco odmienną. Pewna dama z *faubourg Saint-Germain* pytała mnie zawsze, mając na myśli panią de Guermantes, czy dawno widziałem Zenaidę lub Oriane-Zenaidę, co sprawiało że w pierwszej chwili nie wiedziałem o kim mówi. Prawdopodobnie musiał być czas, kiedy jakaś krewna pani de Guermantes nazywała się Oriana, dla uniknięcia

omyłek nazywano tedy ją samą Orianą-Zenaidą. Może też był dawniej dworzec tylko w Incarville, i stamtąd się jechało końmi do Balbec.

— O czemż takim panowie mówili? — spytała Albertyna, zdziwiona uroczystym i ojcowskim tonem pana de Charlus.

— O Balzaku — skwapliwie odpowiedział baron — a pani ma dziś wieczór właśnie toaletę w stylu księżnej de Cadignan, nie tę pierwszą, z obiadu, ale tę drugą.

Podobieństwo wynikało stąd, że w wyborze toalet Albertyny kierowałem się smakiem, jaki ona sobie wyrobiła dzięki Elstrowi, Elstir zaś bardzo cenił dyskrecję, którą możnaby nazwać brytyjską, gdyby jej nie łagodziło coś ze słodyczy i miękkości francuskiej. Najczęściej suknie, które przekładał nad inne, tworzyły harmonijną kombinację kolorów szarych jak w sukni Diany de Cadignan<sup>958</sup>. Jeden bez mała p. de Charlus zdolny był zrozumieć i ocenić istotne wartości toalet Albertyny; oczy jego zaraz odkrywały to co stanowiło ich rzadkość; cenę; nieomylnie umiał wymienić nazwę materji, poznać krawca. Tylko baron lubił — dla kobiet — trochę więcej blasku i koloru, niż ich znosił Elstir. Toteż tego wieczoru Albertyna rzuciła mi uśmiechnięte i niespokojne zarazem spojrzenie, marszcząc nosk różowy jak u kotki. W istocie, jej szary szewiotowy żakiecik, zapięty na szarej spódnicy *crêpe de chine*, pozwalał wnosić, że Albertyna cała jest na szaro. Ale, dając mi znak abym jej pomógł (ponieważ buffy u rękawów wymagały aby je przypląszczyć lub podnieść), zdjęła żakiet; że zaś rękawy były w szkocką kratę, bardzo delikatną, różową, bładoniebieską, zielonkawą, perłową, robiło to wrażenie, jakby na szarem niebie ukazała się tęcza. I Albertyna nie była pewna, czy się to spodoba panu de Charlus.

— Och! — wykrzyknął baron zachwycony — oto promień, pryzmat barw. Winszuję, winszuję.

— To zasługa tylko tego pana — rzekła Albertyna wskazując na mnie, bo lubiała chwalić się tem co miała odemnie.

— Jedyne kobiety nie umiejące się ubrać boją się kolorów — odparł p. de Charlus. Można być jaskrawą bez pospolitości i słodką bez mdłości. Zresztą pani nie ma tych samych przyczyn co pani de Cadignan, aby chcieć się wydać obcą życiu, bo to było pojęcie, jakie chciała wszczepić d'Arthezowi swoją szarą toaletą. Albertyna, którą zainteresowała ta niema wymowa sukien, spytała pana de Charlus o księżnę de Cadignan.

— Och, to urocza nowela — rzekł baron marzącym tonem. — Znam ogródek, gdzie Diana de Cadignan przechadzała się z panem d'Espard. To ogród jednej z moich kuzynek.

— Wszystkie te „ogrody kuzynki” — mruknął Brichot do Cottarda — mogą mieć wartość dla zacnego barona, tak jak jego genealogia. Ale co to obchodzi nas, którzy nie mamy przywileju przechadzania się w tym ogródku, nie znamy tej damy i nie posiadamy pergaminów?

Bo Brichot nie podejrzewał, aby można się było interesować suknią i ogrodem jak dziełem sztuki, i że p. de Charlus jakgdyby poprzez Balzaka oglądał ogródek pani de Cadignan.

Baron ciągnął:

— Ależ zna ją pan — rzekł aby mi pochlebić, zwracając się do mnie, jak do kogoś, kto, wygnany do „klaniku”, był dla pana de Charlus jeżeli nie z jego świata, to bodaj kimś kto bywa w jego świecie. W każdym razie, musiał ją pan widzieć u pani de Villeparisis.

— Margrabina de Villeparisis, do której należy zamek de Baucreux? — spytał Brichot z zainteresowaniem.

— Tak, zna ją pan? — spytał sucho pan de Charlus.

— Ani trochę — odparł Brichot — ale nasz kolega Norpois spędza co lato jakiś czas w Baucreux. Miałem sposobność pisać tam do niego.

Powiedziałem Morelowi, myśląc że go to zainteresuje, że pan de Norpois jest przyjacielem mego ojca. Ale żaden odruch nie zaświadczył aby Morel usłyszał, tak dalece uważał moich rodziców za ludzi mało znaczących i nie umywających się nawet do tego czem był wuj, u którego ojciec jego był kamerdynerem i który zresztą, w przeciwieństwie do reszty rodziny, lubiąc paradę, zostawił olśniewające wspomnienie służbie.

<sup>958</sup> Diana de Cadignan — bohaterka opowiadania Balzaka, do którego p. de Charlus robi aluzję (*Sekrety księżnej de Cadignan*). [przypis redakcyjny]

— Zdaje się, że pani de Villeparisis jest kobietą niepospolitą, ale nigdy nie miałem zaszczytu sprawdzenia tego osobiście, jak zresztą żaden z moich kolegów. Norpois, przeżył w Instytucie, nie przedstawił żadnego z nas margrabinie. Wiem, że bywał u niej jedynie nasz przyjaciel Thureau-Dangin, którego z nią łączyły dawne stosunki rodzinne, a także Gaston Boissier; margrabina chciała go poznać w związku z jakąś pracą, która ją specjalnie zainteresowała. Był u niej raz na obiedzie i wrócił pod urokiem. Ale pani Boissier nie zaproszono.

Na te nazwiska, Morel uśmiechnął się z rozczuleniem:

— A! Thureau-Dangin — rzekł do mnie z miną wyrażającą w tym samym stopniu zainteresowanie, w jakim mina, którą przyjął wzmiankę o margrabim de Norpois i o moim ojcu, zdradzała obojętność. Thureau-Dangin, to była para przyjaciół z pańskim wujem. Kiedy jakaś dama chciała mieć dobre miejsce na przyjęcie w Akademji, pański wuj mówił: „Napiszę do mego Thureau-Dangin.” I oczywiście miejsce zaraz było, bo rozumie pan, że Thureau-Dangin nie odważyłby się niczego odmówić wujowi, któryby mu potrafił dać byka za indyka. Bawi mnie też słyszeć nazwisko Boissier, bo tam właśnie wuj pański robił wszystkie zakupy dla dam koło Nowego Roku. Wiem o tem, bo znam osobę, która załatwiała te sprawunki.

Więcej niż *znał*, bo to był jego ojciec. Niektóre serdeczne aluzje Morela do pamięci wuja, potraçały o fakt, że my nie zamierzaliśmy pozostać w pałacu Guermantes, gdzieśmy zamieszkali jedynie dla babki. Mówiło się czasem o możliwej zmianie mieszkania. Otóż, aby zrozumieć rady, jakie mi dawał w tej mierze Morel, trzeba wiedzieć, że niegdyś wuj mieszkał pod numerem 40 *bis* przy boulevard Malesherbes. Z tego wynikło, że, ponieważ odwiedzaliśmy często wuja Adolfa aż do nieszczęsnego dnia kiedym poróżnił z nim rodziców opowiadając o różowej damie, zamiast mówić „do wuja”, mówiło się w rodzinie „pod 40 *bis*.” Kuzynki mamy mówiły najnaturalniej w świecie: „A, w niedzielę nie będziesz w domu, masz obiad pod 40 *bis*.” Kiedym szedł odwiedzić jaką krewną, zalecano mi najpierw iść „pod 40 *bis*”, aby się wuj nie obraził, że się nie zaczęło od niego. Był właścicielem tego domu i bardzo był trudny w wyborze lokatorów, którzy wszyscy byli lub stawali się jego przyjaciółmi. Pułkownik baron de Vatry zachodził codziennie wypalić z wujem cygaro, aby łatwiej uzyskać remont. Brama wjazdowa była zawsze zamknięta. Jeżeli w jakim oknie wuj dojrzał bieliznę, dywan, wpadał we wściekłość i kazał je sprzątać energiczniej niż to dziś czynią posterunkowi. Ale ostatecznie i tak odnajmował część domu, zachowując dla siebie tylko dwa piętra i stajnie. Mimo to, wiedząc że lubi aby chwalić staranne utrzymanie domu, sławiło się komfort „pałacyku”, tak jakby wuj sam jeden go zajmował; on zaś przyjmował to, nie zakładając (jakby się godziło) formalnego protestu. „Pałacyk” był niewątpliwie komfortowy (wuj wprowadzał tam wszystkie nowe udogodnienia), ale nie było w nim nic nadzwyczajnego. Jedyny wuj, powiadając z fałszywą skromnością „moja nora”, był przekonany (lub conajmniej wszczepił swemu kamerdynerowi, jego żonie, stangretowi, kucharce, to pojęcie), że nie istnieje w Paryżu nic, coby w zakresie komfortu, zbytku i przyjemności można porównać z jego „pałacykiem”. Młody Morel wzrósł w tej wierze i zachował ją. Toteż nawet kiedy nie rozmawiał specjalnie ze mną, jeżeli w pociągu wspominałem komuś o możliwości przeprowadzki, uśmiechał się i mrugając porozumiewawczo, mówił: „Och! państwu by trzeba czegoś w rodzaju 40 *bis*! Tam by było dobrze! To fakt, że wuj pański rozumiał się na tem. Jestem pewien, że w całym Paryżu niema nic, coby można równać z 40 *bis*”

Z melancholijnej miny, jaką baron przybrał mówiąc o księżnej de Cadignan, odczułem, że ta nowela przywodzi mu na myśl nie tylko ogródek dosyć obojętnej kuzynki. Popadł w zadumę i jakby do samego siebie wykrzyknął:

— *Sekrety księżnej de Cadignan!* Arcydzieło! jakie to głębokie, bolesne, ta zła reputacja Djany, drżącej, aby człowiek, którego kocha, nie dowiedział się o niej. Co za wiekuiста prawda, powszechniejsza niż się zdaje; jak to daleko sięga!

P. de Charlus wyrzekł te słowa ze smutkiem, czuło się jednak, że ten smutek jest dlań nie bez uroku. Z pewnością baron, nie wiedząc ściśle w jakiej mierze jego obyczaje są znane, drżał od jakiegoś czasu, że, skoro wróci do Paryża i pokaże się z Morelem, rodzina skrzypka gotowa się w to wdąć i wówczas szczęście jego będzie narażone. Ewentualność ta przedstawiała mu się zapewne dotąd wyłącznie jako coś bardzo przykrego i ciężkiego. Ale baron był w wysokim stopniu artystą. I teraz, kiedy od paru chwil utożsamiał swo-

je położenie z sytuacją opisaną przez Balzaka, chronił się poniekąd w to opowiadanie; w nieszczęściu, które mu może groziło — a w każdym razie przerażało go — miał tę pociechę, że znajduje we własnym lęku to, co Swann, a także Saint-Loup nazwaliby czemś „bardzo balzakowskim”. Owo utożsamienie się z księżną de Cadignan stało się łatwe dla pana de Charlus dzięki duchowej transpozycji, do której przywykł i której dawał już nieraz przykłady. Transpozycja ta wystarczała zresztą, aby samo zastąpienie kobiety jako przedmiotu ukochania — młodym człowiekiem, stworzyło natychmiast dokoła niego cały splot komplikacji socjalnych, jakie się rozwijają dokoła zwykłego stosunku. Kiedy, z jakiegoś powodu, wprowadza się trwałą zmianę w kalendarzu lub w zegarach, jeżeli rok zaczyna się o kilka tygodni później, lub północ bije o kwadrans wcześniej, wszystko co wynika z miary czasu pozostanie identyczne, bo dzień i tak będzie miał dwadzieścia cztery godzin, a miesiąc trzydzieści dni. Wszystko mogło się zmienić bez żadnego wstrząsu, bo stosunki cyfr pozostały wciąż jednakie. Tak samo u tych którzy przyjmą „czas średnio-europejski” lub kalendarz wschodni. Zdaje się nawet, że miłość własna, którą głaszcząc stosunek z aktorką, grała rolę i tutaj. Kiedy od pierwszego dnia p. de Charlus wywiedział się kim jest Morel, z pewnością stwierdził, że jest niskiego pochodzenia; ale i dama z półświatka którą pokochamy, nie traci przecież dla nas uroku przez to że jest córką biedaków. W zamian za to, znani muzycy, do których baron się zwrócił — odpowiedzieli mu — nawet nie z rozmysłu, ale ot, jak owi przyjaciele, którzy, przedstawiając Odecie Swanna, odmalowali mu ją jako trudniejszą i bardziej poszukiwaną niż była w istocie przez zdawkową banalność ludzi sławnych, łaskawych dla debiutanta: „Och! Wielki talent, duża sytuacja, zważywszy oczywiście że jest młody, ceniony przez znawców, ma przed sobą karierę.” I przez ową manję, z jaką ludzie nieznaną zbroczeni mówią o męskiej urodzie, ten i ów dodał: „A przytem, ładny jest kiedy gra; świetnie wygląda na estradzie, ładne włosy, ruchy dystyngowane, czarująca głowa, wygląda jak z portretu.” Toteż p. de Charlus, podniecany zresztą przez Morela, który mu nie tał, ilu propozycji jest przedmiotem, dumny był, że go przywozi z sobą, że mu uściele gniazdko do którego by skrzypek lubił wracać. Bo pozatem baron chciał aby Morel był wolny, co było konieczne dla kariery, której — mimo pieniędzy, jakie mu gotów był dawać — p. de Charlus pragnął dla Morela, bądź to z powodu tego poglądu — bardzo w stylu „Guermantes” — że trzeba aby mężczyzna coś robił, że człowiek jest coś wart jedynie przez swój talent, szlachectwo zaś lub pieniąż to są jedynie zera, które mnożą wartość, bądź że się bał, iż, nie mając zajęcia i będąc wciąż przy nim, skrzypek znudziłby się. Wreszcie, baron nie chciał się pozbywać przyjemności, jakiej doznawał w czasie wielkiego koncertu, powiadając sobie: „Ten, którego oklaskują w tej chwili, będzie u mnie dziś w nocy.” Ludzie światowi, kiedy są zakochani — bez względu na gatunek miłości — wkładają swoją próżność w to, co może zniwieczyć dawniejsze ich przewagi, w których próżność ich znalazłaby zadowolenie.

Morel, czując że ja mu źle nie życzę, szczerze przywiązany do pana de Charlus, a z drugiej strony fizycznie absolutnie obojętny w stosunku do nas obu, nabrał w końcu do mnie owej gorącej sympatii, jaką ma kokotka do kogoś, kto się do niej nie zaleca i w kim kochanek jej ma szczerego przyjaciela, nie starającego się go z nią poróżnić. Nietylko mówił ze mną ściśle tak jak niegdyś Rachela, kochanka Roberta, ale także — wedle tego co mi powtarzał p. de Charlus — mówił mu o mnie w mojej nieobecności mniej więcej to samo, co niegdyś Rachela Robertowi. Słowem, p. de Charlus powtarzał: „On pana bardzo lubi”, jak Robert mówił: „Ona cię bardzo lubi.” I jak Robert w imieniu kochanki, tak teraz wuj jego w imieniu Morela często zapraszał mnie we trójkę na obiad. Było zresztą między nimi nie mniej burz niż między Robertem a Rachelą. Niewątpliwie, kiedy Charlie (Morel) wyszedł, p. de Charlus nie szczędził mu pochwał, powtarzając — co pochlebiali jemu samemu — że skrzypek jest dlań taki dobry! Mimo to, widoczne było, że często Charlie, nawet wobec „wiernych”, zdradzał irytację, zamiast się wydawać zawsze szczęśliwy i uległy, jakby tego pragnął baron. Później — naskutek słabości, z jaką p. de Charlus przebaczał Morelowi wszystkie nietakty — irytacja ta posunęła się tak daleko, że skrzypek nie starał się jej ukryć a nawet afszował ją. Widziałem, jak p. de Charlus wchodził do wagonu, gdzie Charlie siedział z kolegami z wojska; muzyk przyjmował go wzruszeniem ramion, robiąc oko w stronę towarzyszków. Lub udawał że śpi, jak ktoś, kogo ta obecność napęla nieodpartą nudą. Albo zaczynał kaszleć; tamci śmiali się, przedrzeźniali specyficzne mizdrzenie się pana de Charlus; odciągali w ką Morela, który w końcu

jakby pod przymusem wracał do barona. Wszystkie te grotty przeszywały nawskroś serce barona. Niepojęte jest, że je znosił; i te wciąż odmienne formy cierpienia stwarzały wciąż na nowo dla pana de Charlus problemat szczęścia, zmuszały go nie tylko do żądania więcej, ale do pragnienia czego innego, ile że poprzednia kombinacja nasiąkła okropnym wspomnieniem. I mimo iż te sceny stały się później tak przykre, trzeba przyznać, że w pierwszym okresie instynkt dziecka francuskiego ludu natchnął Morela formami uroczej prostoty, pozornej szczerości, nawet szlachetnej dumy, która zdawała się zrodzona z bezinteresowności. To było fałszywe, ale wszystkie korzyści tej postawy przypadają Morelowi tem bardziej, że ten co kocha wciąż musi atakować, silić się na coś, gdy przeciwnie temu co nie kocha łatwo jest zachować linię prostą, nieugiętą i wdzięczną. Istniała ona, mocą przywileju rasy, w tak otwartej twarzy Morela, człowieku o tak zamkniętym sercu; twarzy strojnej neohelleńskim wdziękiem, kwitnącym w bazylikach Szampanji. Mimo swojej sztucznej dumy, często, spostrzegając pana de Charlus w chwili gdy się tego nie spodziewał, Morel zażenowany był wobec „paczki”; rumienił się, spuszczał oczy, ku zachwytowi barona, widzącego w tem cały romans. Były to poprostu oznaki irytacji i wstydu. Irytacja ta dawała sobie niekiedy folgę, mimo bowiem iż zazwyczaj spokojny, męski i skromny, Morel wypadał niekiedy z roli; czasem nawet, na jakieś odezwanie się barona, wybuchał ostro i zuchwale, ku zgorszeniu obecnych. P. de Charlus spuszczał smutno głowę, nie odpowiadał nic i dalej mimo to śpiewał pochwały skrzypka, gotów wierzyć — jak wierzą zbyt słabi rodzice, że nikt nie zauważył chłodu i grubiaństwa ich dzieci. Nie zawsze zresztą był p. de Charlus równie uległy, ale bunty jego nie osiągały zazwyczaj celu, zwłaszcza że, żyjąc zawsze w kołach światowych, w obliczaniu ewentualnej reakcji uwzględniał nikczemność, jeżeli nie wrodzoną, to bodaj nabytą przez wychowanie. Otóż, zamiast tego, spotykał u Morela jakiś plebejski powiew chwilowej obojętności.

Nieszczęściem dla siebie, p. de Charlus nie rozumiał, że dla Morela wszystko znika z chwilą gdy wchodzi w grę konserwatorjum (i dobra opinja w konserwatorjum, ale ten wzgląd — poważniejszy — nie nastroczał się jeszcze w tej chwili). Tak naprzykład, mieszczenie łatwo zmieniają nazwisko przez próżność, a wielcy panowie dla korzyści. Przeciwnie, dla młodego skrzypka nazwisko Morel było nierozłączne z uzyskaną pierwszą nagrodą skrzypcową, zatem niepodobne do zmienienia. P. de Charlus byłby chciał, aby Morel miał od niego wszystko, nawet nazwisko. Wiedząc że Morelowi jest na imię Charles, co brzmiało podobnie do *Charlus* i że posiadłość w której się widywali nazywała się *les Charmes*, chciał przekonać Morela, że ładne i mile brzmiące nazwisko jest połową artystycznej reputacji, i że powinien bez wahania przybrać nazwisko *Charmel* — dyskretna aluzja do miejsca ich schadzek. Morel wzruszył ramionami. Jako ostatni argument, p. de Charlus dodał nieszczęśliwie, że ma kamerdynera, który się tak nazywa. Obudził tem jedynie furję młodego człowieka.

— Był czas, gdy moi przodkowie byli dumni z tytułu pokojowca, marszałka królewskiego dworu — mówił baron.

— Był inny czas — odparł dumnie Morel — gdy moi przodkowie ucięli głowę pańskim.

Po odrzuceniu nazwiska „Charmel”, p. de Charlus gotów był już adoptować Morela i dać mu jeden z tytułów rodu Guermites jakimi rozporządzał, ale — jak się okaże — okoliczności nie pozwoliły mu ofiarować skrzypkowi tego tytułu; zresztą p. de Charlus przekonałby się, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że Morel byłby odmówił, wciąż przez wzgląd na reputację artystyczną, związaną z nazwiskiem Morel i na komentarze, jakieby to wywołało w jego klasie. O tyle wyżej stawał ulicę Bergère od faubourg Saint-Germain. Narazie, trzeba się było panu de Charlus zadowolić wymianą symbolicznych pierścionków, noszących starożytny napis: *PLUS ULTRA CAROL'S*. Niewątpliwie, w obliczu przeciwnika z rodzaju którego nie znał, p. de Charlus powinien był zmienić taktykę. Ale kto to potrafi? Zresztą, jeżeli p. de Charlus popełniał niezręczności, nie zbywało ich i Morelowi. O wiele bardziej niż sama okoliczność, która spowodowała zerwanie, zgubić, bodaj prowizorycznie (ale to prowizorjum okazało się definitywnem), Morela wobec pana de Charlus miało to, że w tym chłopcu była nie tylko sama nikczemność, każąca mu się płaszczyć wobec brutalności a odpłacać zuchwalstwem dobroć. Równoległe z tą wrodzoną nikczemnością, była w nim neurastenja, skomplikowana złem wychowaniem, która, budząc się za każdym razem kiedy Morel zawinił lub kiedy stawał się ciężarem,

sprawiała iż właśnie w chwili kiedyby potrzebował całego swego wdzięku, wesołości, słodczy, aby rozbroić barona, Morel stawał się chmurny, zaczepny, wszczynał beznadziejne dyskusje, podtrzymywał swój wrogi punkt widzenia z nicością argumentów a zarazem z brutalnością, która pogłębiała jeszcze tę nicość. Bo bardzo szybko wyczerpawszy argumenty, wymyślał nowe, w których ujawniał cały bezmiar swojej ignorancji i głupoty. Wady te ledwie przeświecały wówczas kiedy Morel był miły i starał się podobać. Przeciwnie, w napadach złego humoru, wady te z niewinnych stawały się wstrętne, przesłaniały wszystko inne. Wówczas p. de Charlus popadał w rozpacz; całą nadzieję pokładał jedynie w lepszym jutrze, podczas gdy Morel, zapominając o zbytku jaki zawdzięczał baronowi, mówił z uśmiechem ironicznego politowania:

— Nigdy nie przyjąłem nic od nikogo; toteż niema człowieka, któremu bym był winien jakąkolwiek wdzięczność.

Narazie, i tak jakby miał do czynienia z człowiekiem z towarzystwa, p. de Charlus dalej dawał upust swoim gniewom, prawdziwym lub udanym, ale daremnym. Nie zawsze zresztą. I tak, pewnego dnia (już w dalszym okresie tego stosunku), kiedy baron wracał z Morelem i ze mną ze śniadania u Verdurinów, sądząc że spędzi wieczór ze skrzypkiem w Doncières, Morel, wysiadając z wagonu, pożegnał go słowami: „Nie, jestem zajęty.” Sprawilo to panu de Charlus zawód tak silny, że mimo iż próbował uzbroid serce przeciw srogości losu, ujrzałem jak łzy stopiły szminkę na jego rzesach, podczas gdy stał ogłupiały koło pociągu. Boleść jego była taka, że ponieważ zamierzaliśmy z Albertyną zakończyć dzień w Doncières, szepnąłem jej, że baron ma wyraźnie jakieś zmartwienie i że nie chciałbym go zostawiać samego. Kochana dziewczyna zgodziła się chętnie. Spytałem wówczas pana de Charlus, czy nie chce abym został trochę przy nim. Zgodził się, ale nie chciał fatygować mojej kuzynki. Znalazłem pewną słodycz (i zapewne ostatni raz, skoro byłem zdecydowany zerwać z Albertyną) w tem, aby jej nakazać łagodnie, tak jakby była moją żoną: „Wracaj sama, zajdę do ciebie wieczór”, i otrzymać tak jakby od żony — zgodę na to abym postąpił jak uważam za stosowne, w razie gdyby p. de Charlus, którego Albertyna bardzo lubiła, mnie potrzebował. Zaszliśmy we dwóch z baronem (przyczem on kołysał swoje wielkie ciało, ze spuszczonej jezuicko oczami, a ja szedłem za nim) do kawiarni, gdzie nam podano piwo. Czulem, że oczy pana de Charlus ścigają niespokojnie jakiś plan. Nagle baron zażądał papieru i atramentu i zaczął pisać z niezwykłą szybkością. Podczas gdy zapisywał ćwiartkę po ćwiartce, oczy jego błyszczały marzeniem i wściekłością. Napisawszy osiem stron, rzekł do mnie:

— Czy mogę pana prosić o wielką przysługę? Niech pan daruje, że zakleję ten list. Ale tak trzeba. Weźmie pan fiakra, auto jeśli pan znajdzie, aby być prędzej. Zastanie pan z pewnością Morela w domu, poszedł się przebrać. Biedny chłopiec, fanfaronował w chwili gdy nas opuszczał, ale może pan być pewny, że jemu jest jeszcze ciężiej niż mnie. Odda mu pan list, a jeśli zapyta gdzie mnie pan widział, powie pan, że się pan zatrzymał w Doncières (co jest zresztą prawda) aby się widzieć z Robertem (co nie jest może prawda), ale że mnie pan spotkał z kimś kogo pan nie zna, że był wyraźnie bardzo zirygowany; ma pan wrażenie, że pan słyszał coś o posyłaniu świadków (biję się w istocie jutro). Zwłaszcza niech pan nie mówi, że ja go wzywam, niech się go pan nie stara sprowadzić; ale gdyby chciał przyjść z panem, proszę mu tego nie bronić. Idź, dziecko, to dla jego dobra, możesz oszczędzić wielkiego dramatu. Podczas gdy pan uda się do niego, ja napiszę do moich świadków. Zepsułem panu spacer z kuzynką. Mam nadzieję, że nie będzie miała o to żalu, nawet jestem tego pewny. Bo to jest szlachetna dusza, i wiem, że jest z tych, które umieją zrozumieć doniosłość sytuacji. Musi pan jej podziękować odemnie. Jestem jej osobiście zobowiązany i cieszę się z tego.

Bardzo mi było żal pana de Charlus; zdawało mi się, że Charlie powinienby zapobiec temu pojedynkowi, którego był może przyczyną. Jeżeli tak było, czulem się oburzony że on odszedł obojętnie, zamiast towarzyszyć swemu protektorowi. Oburzenie moje wzrosło, kiedy, przybywszy do domu gdzie mieszkał Morel, poznałem głos skrzypka, który, potrzebując dać upust wesołości, śpiewał na całe gardło: „Sobota wieczór, po fajerancie!” Gdyby biedny p. de Charlus słyszał, on który chciał aby wierzone i wierzył zapewne, że Morel jest w tej chwili smutny! Na mój widok, Charlie zaczął tańczyć z uciechy.

— Och, mój stary (daruje pan, że go tak nazywam, w tem przekłętym życiu wojskowym człowiek nabiera plugawych manjer), co za gratka, że pana widzę. Nie mam co

robić z wieczorem, błagam, chodźmy gdzie razem. Zostaniemy tutaj, jeżeli pan woli, albo popływamy łódką, albo będziemy muzykowali, co tylko pan chce.

Powiedziałem, że muszę wracać na obiad do Balbec; miał ochotę abym go zaprosił, ale nie zrobiłem tego.

— Ale skoro panu tak spieszą, poco pan przyszedł?

— Przynoszę panu list barona.

W tej chwili wesołość Morela pierzchła, twarz mu się skurczyła.

— Jakto! jeszcze tutaj mnie ściga! Więc ja jestem niewolnik? Drogi panie, niech pan będzie poczciwy. Nie otwieram listu. Powie pan, że mnie pan nie zastał.

— Czy nie lepiej otworzyć, zdaje mi się że tam jest coś ważnego.

— Ale nie! pan nie zna kłamstw, piekielnych sztuczek tego starego plugawca. To finta wymyślona na to, żebym poleciał do niego. Ale nie, nie pójdę, chcę mieć spokój dzisiaj.

— Ale przecież on ma pojedynek jutro? — spytałem, sądząc że Morel jest świadomy rzeczy.

— Pojedynek? — odparł zdumiony. — Nie wiem o tem ani słowa. Ostatecznie, mam to gdzieś, niech się ten stary pluch da wypaproszyć, skoro ma ochotę. Ale wie pan, to mnie intryguje: otworzę ten list. Powie mu pan, że mi go pan zostawił na wszelki wypadek, w razie gdybym wrócił do domu.

Podczas gdy Morel mówił, patrzałem ze zdumieniem na cudowne książki — dar pana de Charlus — walające się po pokoju. Skrzypek nie chciał przyjąć książek, które miały napis: „Należę do barona etc...”; dewiza ta zdawała mu się obrażająca dla niego jako znak przynależności; zaczął baron, z sentymentalną pomysłowością, w której lubuje się nieszczęśliwa miłość, zastąpił te godła innymi, odziedziczonymi po przodkach, ale zamówionymi u introligatora w duchu melancholijnej przyjaźni. Czasami były krótkie i ufne, jak *Spes mea* albo *Expectata non eludet*. Czasem tylko zrezygnowane, jak „Zaczekam”. Niektóre frywolne, jak „*Mesmes plaisir du mestré*”, lub doradzające czystość, jak ta zapożyczona od rodziny Simiane, usiana błękitnymi wieżami i kwiatami lilji i odarta ze swego sensu: *Sustendant lilia turres*. Inna wreszcie, zrozwyczajona i dająca schadzki w niebie temu, który go nie chciał na ziemi: *Manet ultima coelo*. W innej, znajdując nazbyt zielonem grono którego nie mógł dosięgnąć, udając że się nie ubiega o to czego nie otrzymał, p. de Charlus powiadał: *Non mortale quod opto*. Ale nie miałem czasu obejrzeć wszystkich.

Jeżeli p. de Charlus, kreśląc ten list, zdawał się pastwą demona prowadzącego mu pióro, Morel, złamawszy pieczęć *Atavis et armis*, opatrzoną lampartem w sąsiedztwie dwóch czerwonych róż, zaczął czytać z gorączką równą tej z jaką p. de Charlus pisał; oczy jego biegały po zabazgranych stronicach nie mniej szybko niż pióro barona.

— Och, Boże! tylko tego brakowało! ale gdzie go znaleźć! Bóg wie, gdzie on jest teraz.

Poddałem myśl, że pospieszywszy się, zastałoby się może jeszcze barona w piwiarni, gdzie sobie kazał dać piwa aby ochłonić. „Nie wiem, czy wrócę, rzekł Morel do gospodyni; i dodał *in petto*: to będzie zależało od obrotu rzeczy.” W kilka minut przybyliśmy do kawiarni. Zauważyłem wyraz pana de Charlus w chwili gdy mnie spostrzegł. Uczułem iż na widok że nie idę sam, wraca mu oddech, życie. Będąc tego wieczora w takim nastroju że się nie mógł obyć bez Morela, zmyślił, że — jak mu doniesiono — dwaj oficerowie z pułku Morela źle mówili o nim z powodu skrzyпка i że on wyprawił do nich świadków. Morel dojrzał w tem skandal, uniemożliwienie swego życia w pułku; zadrzał. W czem niezupełnie był w błędzie. Bo, aby uczynić swoje kłamstwo prawdopodobniejszym, p. de Charlus napisał już do dwóch przyjaciół (jednym z nich był Cottard), prosząc ich na sekundantów. I gdyby skrzypek się nie zjawił, można być pewnym, że taki warjat jak p. de Charlus (aby zmienić swój smutek we wściekłość) wysłałby ich na oślep do jakiegoś oficera, z którym pojedynek sprawiłby mu ulgę. Przez ten czas, p. de Charlus, przypominając sobie że jest z krwi czystszej niż krew królów Francji, myślał że śmieszne jest tyle się dręczyć dla syna kamerdynera, z którego panem nie raczyłby utrzymywać stosunków. Z drugiej strony, o ile znajdował już upodobanie tylko w przestawianiu z mętami, zakorzeniony u ludzi tego pokroju zwyczaj aby nie odpowiadać na listy, nie przyjść na schadzki bez uprzedzenia, bez wytłumaczenia się później, dawał baronowi — ponieważ często chodziło o miłości — tyle wzruszeń, a skądinąd przyprowadził go o tyle irytacji, kłopotów i wściekłości, że często zdarzało mu się żałować mnogości zbytecznych listów, punktualności ambasadorów i monarchów, którzy, o ile mu byli niestety obojętni, dawali mu mimo wszystko uczucie



wytchnienia. Przyzwyczajony do manier Morela, wiedząc jak mało ma nań wpływu i jak dalece był niezdolny wcisnąć się w życie, w którym pospolite ale obowiązujące stosunki zabierały zbyt wiele miejsca i czasu aby można było znaleźć godzinę dla wzgardzonego magnata, dumnego i błagającego napróżno, p. de Charlus był tak dalece przekonany że muzyk nie przyjdzie, tak bardzo się bał że się z nim na zawsze poróżnił posuwając się za daleko, że ledwie mógł wstrzymać krzyk na jego widok. Ale, czując się zwycięską, chciał podyktować warunki pokoju, wydobyć dla siebie możliwe korzyści.

— Co pan tu robi? — rzekł do Morela. — A pan? — dodał patrząc na mnie; — mówiłem przecie żeby mi go nie sprowadzać.

— Nie chciał mnie sprowadzać — rzekł Morel śląc, w swojej naiwnej kokieterii, w stronę pana de Charlus spojrzenia konwencjonalnie smutne i tęsknie niemożne, z miną — uważał ją zapewne za nieodpartą — taką jakby chciał barona uściskać i rozplakać się. — To ja sam przyszedłem, wbrew niemu. Przychodzę w imię naszej przyjaźni, błagać pana na kolanach, aby pan nie robił tego szaleństwa.

P. de Charlus nie posiadał się z radości. Reakcja była zbyt silna na jego nerwy; mimo to, opanował ją.

— Przyjaźń na którą się pan powołujesz dosyć niewczesnie — odparł sucho — powinna być przeciwnie zyskać mi pańskie uznanie, za to iż nie mam ochoty cierpieć imper-tynencji durnia. Zresztą, gdybym chciał ulec perswazjom uczucia, które bywało lepiej natchnione, nie miałbym już możliwości; listy do moich świadków już odeszły, a nie wątpię że przyjmą misję. Postępowałeś zawsze ze mną jak głuptas. Zamiast czuć się dumny — jak miałeś prawo — z predylekcji, jaką ci okazywałem, zamiast pouczyć ciźbę sierżantów lub fagasów, wśród których rygory wojskowe nakazują ci żyć, jakim źródłem nieporównanej dumy jest dla ciebie przyjaźń taka jak moja, starałeś się usprawiedliwiać, starałeś się niemal pysznić tem, że nie jesteś dość wdzięczny. Wiem — dodał baron, aby nie okazać jak go niektóre sceny upokorzyły — że jesteś w tem winny tylko o tyle, żeś się dał powodować zawiści innych. Ale jak ty, w swoim wieku, możesz być takim dzieckiem (i to dzieckiem dosyć źle wychowanym), aby nie pojąć odrazu, iż fakt że ja cię wybrałem, oraz wszystkie zrozumiałe korzyści płynące stąd dla ciebie, wznicią zazdrość, że wszyscy koledzy będą cię podburzali przeciw mnie, starając się równocześnie zająć twoje miejsce. Nie uważałem za potrzebne uprzedzać cię o listach, jakie dostawałem w tej mierze od wszystkich tych, którym ty najbardziej ufasz. Gardzę zarówno nadskakiwaniami tych fagasów, jak ich bezsilnymi drwinami. Jedyna osoba, o którą dbam, to ty, bo cię bardzo kocham: ale przywiązanie ma swoje granice, powinienbyś to zrozumieć.

Słowo *fagas* musiało przykro zabrzmieć dla uszu Morela, którego ojciec był „fagasem”; ale właśnie dlatego że ojciec nim był, wytłumaczenie wszystkich konfliktów socjalnych przez „zazdrość”, wytłumaczenie prostackie i niedorzeczne, ale niepożyte i w pewnej klasie „chwytające” zawsze w sposób równie niezawodny jak stare sztuczki biorą publiczność teatralną, lub jak groźba klerikalnego niebezpieczeństwa bierze na wiecach, znajdowało u Morela wiarę prawie równie silną jak u Franciszki lub u służby pani de Guermantes, widzących w tem jedyne źródło nieszczęść ludzkości. Nie wątpił, że wszyscy koledzy próbowali mu zdmuchnąć miejsce i czuł się tem nieszczęśliwszy z powodu tego oplakanego, urojonego zresztą pojedyńku.

— Och! co za rozpacz! — wykrzyknął Charlie. Ja tego nie przeżyję. Ale czy tamci panowie nie mają się z panem spotkać, zanim pójdą do tego oficera?

— Nie wiem, sądzę że tak. Dałem znać jednemu z nich że zostanę tu dziś wieczór i że mu dam instrukcje.

— Mam nadzieję, że do jego przybycia zdołam pana przekonać; niech mi pan tylko pozwoli zostać z sobą — prosił czule Morel.

Było to wszystko, czego pragnął p. de Charlus. Nie odrazu ustąpił.

— Myliłbyś się, stosując tu przysłowie że „kto mocno kocha, mocno karci”, bo kochałem mocno ciebie, a skarcić zamierzam, nawet po naszym zerwaniu, tych, co nikczemnie próbowali ci szkodzić. Na ich insynuacje, ośmielające się stawiać mi pytanie, w jaki sposób człowiek taki jak ja może obcować z żygolakiem twojego gatunku, wyrosłym z plebsu, odpowiadałem dotąd jedynie dewizą moich kuzynów La Rochefoucauld: *Taka moja ochota*. Zaznaczyłem ci już kilka razy, że ta ochota mogłaby się stać mojem

największym szczęściem, przyczem twoje samowładne wywyższenie nie stałoby się poniżeniem dla mnie. W odruchu szaleńczej pychy, baron wykrzyknął, wznosząc ręce:

— *Tantus ab uno splendor!* Zstępować, nie znaczy zniżać się — dodał spokojniej po tym wybuchu dumy i radości. Mam nadzieję bodaj, że moi dwaj przeciwnicy, mimo nierówności stanowiska, są z krwi, którą mogę przelać bez sromu. Zasięgnąłem w tej mierze dyskretnej informacji, które mnie uspokoiły. Gdybyś miał dla mnie cień wdzięczności, powinienbyś być przeciwnie dumny z tego, że z twojego powodu odzyskuję wojenny wigor przodków, mówiąc jak oni, w razie nieszczęśliwego wyniku — teraz kiedym zrozumiał coś ty jest za małe ładaco — że „Śmierć mi jest życiem”.

I p. de Charlus mówił to szczerze, nie tylko przez miłość do Morela, ale dlatego, że buńczuczny temperament (baron sądził naiwnie, że go ma po przodkach) dawał mu tyle radości na myśl o biciu się, że z żalem by się wyrzekł teraz tego pojedynku, zrazu ukartowanego jedynie po to aby sprowadzić Morela. Ilekroć miał taką sprawę, baron czuł się natychmiast nadzwyczaj dzielny i utożsamiał się ze znakomitym konetabłem de Guermantes, gdy u każdego innego fakt pojedynku wydawał mu się czemś bardzo błahem.

— Sądzę, że to będzie bardzo piękne — powiadał szczerze, akcentując każde słowo. Widzieć Sarę Bernhard w *Orlątku*, co to jest, to wielkie łajno! Mounet Sully w *Edypie*, łajno! Co najwyżej dostępuje to pewnej bladej transfiguracji, kiedy się odbywa na Arenie w Nimes. Ale co to jest w porównaniu z tą niesłychaną rzeczą: widzieć w boju rodzzonego potomka wielkiego Konetabla.

I na samą tę myśl, nie posiadając się z radości, p. de Charlus zaczął wymierzać tercje i kwarty, które przypominały Moliera i sprawiły żeśmy przezornie przysunęli do siebie kufle, bojąc się zarazem, że pierwsze skrzyżowania szpad mogłyby poranić przeciwników, lekarza i świadków.

— Co za kuszące widowisko dla malarza — ciągnął baron. — Pan, który znasz pana Elstir, powinienbyś go sprowadzić.

Odpowiedziałem, że Elstira niema na wybrzeżu. P. de Charlus poddał, że możnaby po niego zatelegrafować.

— Och, ja mówię to dla niego — dodał wobec mojego milczenia. — To zawsze interesujące dla mistrza — a mojem zdaniem to jest mistrz — utrwalić przykład podobnego etnicznego odzicia. To się nie zdarza ani raz w ciągu wieku.

Ale jeżeli p. de Charlus rozkoszował się myślą o walce którą zrazu uważał za całkowicie fikcyjną, Morel myślał ze strachem o plotkach, które, dzięki hałasowi jakiego narobi ten pojedynek, mogłyby się z muzyki pułkowej przedostać aż do świątyni przy ulicy Bergère. Widząc już „klasę” powiadomioną o wszystkim, stawał się coraz natarczywszy wobec pana de Charlus, który dalej gestykulował, upajając się ideą pojedynku. Morel błagał barona, aby mu pozwolił zostać przy sobie do pojutra (dnia rzekomego spotkania), chcąc go pilnować i starać się mu trafić do rozsądku. Tak czuła propozycja pokonała ostatnie wahania pana de Charlus. Oświadczył, że spróbuje znaleźć furtkę, że odłoży do pojutra ostateczną decyzję. W ten sposób, nie załatwiając sprawy odrazu, p. de Charlus miał nadzieję zatrzymać swego Charlie conajmniej dwa dni i skorzystać z tych dni, aby od niego uzyskać zobowiązania na przyszłość, w zamian za wyrzeczenie się pojedynku, zabawy która (powiadał) ęci go sama w sobie i której wyrzeka się nie bez żalu. W czem zresztą baron był szczerzy, bo zawsze znajdował przyjemność w tem aby stawać na placu, czy chodziło o skrzyżowanie szpad czy o wymianę kul.

Cottard przybył wreszcie, mimo że bardzo spóźniony; uszczęśliwiony że ma służyć za świadka ale bardziej jeszcze wzruszony, musiał się zatrzymywać przy wszystkich kawiarniach lub folwarkach po drodze, prosząc aby mu zechciano pokazać nr 100, czyli „*buen retiro*”. Skoro tylko się zjawił, baron zaprowadził go do oddzielnego pokoju, bo nie uważał za właściwe abyśmy obaj z Morelem byli obecni przy tej rozmowie, celował zaś w sztuce dania jakimkolwiek pokojowi prowizorycznego charakteru sali tronowej lub sali obrad. Znalazłszy się sam z doktorem, podziękował mu gorąco, ale oświadczył, iż zdaje się prawdopodobne, że powtórzonych słów w istocie nie wyrzeczono; w tych warunkach doktor zechce uprzedzić drugiego świadka, iż, poza ewentualnymi komplikacjami, incydent można uważać za załatwiony. Wobec oddalającego się niebezpieczeństwa, Cottard doznał uczucia zawodu. Chciał nawet przez chwilę pogniewać się, ale przypomniał so-

bie, że jeden z jego mistrzów, który zrobił swego czasu najpiękniejszą karierę lekarską, przepadłszy za pierwszym razem w Instytucie tylko dwoma głosami, przyjął wesoło to nieszczęście i poszedł uściskać rękę szczęśliwemu rywalowi. Toteż doktor oszczędził sobie wyrazów żalu, któryby już nic nie zmienił, i szepnąwszy — on, najtchórzliwszy z ludzi — że są pewne rzeczy, których się nie powinno puszczać płazem, dodał że tak będzie najlepiej i że rad jest z tego finału. P. de Charlus, pragnąc okazać wdzięczność doktorowi w ten sam sposób w jaki książę jego brat poprawiłby kołnierz u paltota mojemu ojcu, jak zwłaszcza jakaś księżna byłaby uściskała plebejuszkę, zbliżył krzesło do krzesła doktora, mimo wstrętu jaki ów w nim budził. I nie tylko bez fizycznej przyjemności, ale zwalczając psychiczną odrazę, ujął na pożegnanie doktora za rękę — jako Guermentes, nie jako zboczeniec — i pieścił jakiś czas jego dłoń z dobrocią pana gładzącego konia po pysku i dającego mu cukier. Cottard nigdy nie okazał baronowi aby słyszał coś o jego złych obyczajach, ale mimo to liczył go w duchu do klasy „anormalnych” (nawet, ze swoją zwykłą nieścisłością terminów, najpoważniejszym tonem pytał o lokaja Verdurinów: „Czy to nie jest dziewczynka barona?”). Mało obyty z temi sprawami, wyobraził sobie, że owa pieszczota dłoni jest przygrywką do zgwałcenia, dla którego pojedynek był jedynie pretekstem; że go ściągnięto w pułapkę i zaprowadzono do ustronnego pokoju, gdzie będzie zniewolony siłą. Nie śmiejąc opuścić krzesła, do którego przykuwał go strach, toczył przerażeniami oczami, jakgdyby popadł w ręce dzikiego, o którym nie jest całkiem pewny czy się nie żywi mięsem ludzkim. Wreszcie p. de Charlus puścił rękę doktora i chcąc być do końca uprzejmy, rzekł:

— Napije się pan czego z nami; jest tu coś co nazywało się niegdyś mazagran, lub „gloria”, napoje figurujące już tylko jako archeologiczne zabytki w sztukach Labiche’a i w kawiarniach w Doncières. „Gloria” byłaby dosyć zastosowana do miejsca, nieprawdaż, i do okoliczności? Co pan na to?

— Jestem prezesem ligi antyalkoholowej — odparł Cottard. — Wystarczyłoby, aby jaki prowincjonalny lekarzyna zajrzał tutaj, a będą opowiadali, że nie świecę przykładem. *Os homini sublime dedit coelumque tueri* — dodał Cottard, mimo że to nie miało żadnego związku, ale jego zapas łacińskich cytatał był dosyć ubogi, wystarczający zresztą aby olśnić studentów.

P. de Charlus wzruszył ramionami i zaprowadził Cottarda do nas, poprosiwszy go o sekret, na którym zależało mu tem więcej, iż motyw poronionego pojedyunku był całkowicie urojony. Chodziło o to, aby nie doszedł uszu oficera, samowolnie wciągniętego w grę.

Podczas gdyśmy popijali we czwórkę, pani Cottard, która czekała na męża pod drzwiami i którą p. de Charlus widział doskonale nie kwapiąc się jej zaprosić, weszła i przywitała się z baronem; podał jej rękę jak pokojówce, nie ruszając się z krzesła; trochę jak król, który przyjmuje hołdy, trochę jak snob, który nie chce aby kobieta mało elegancka siadała przy jego stoliku, trochę jak egoista, który lubi być sam z przyjaciółmi i nie chce zwracania głowy. Pani Cottard stała tedy, rozmawiając z panem de Charlus i z mężem. Ale zapewne dlatego iż grzeczność, poczucie tego co „wypada”, nie jest wyłącznym przywilejem Guermentów i może nagle oświecić i natchnąć najbardziej niepewny umysł, lub dlatego że bardzo zdradzając żonę, Cottard czuł chwilami, rodzajem kompensaty, potrzebę chronienia jej przed kimś ktoby jej uchybił, nagle doktor zmarszczył brwi, czego u niego nigdy nie widziałem, i nie troszcząc się o pana de Charlus, rzekł władczo:

— Słuchaj, Leontyno, nie stój że tak, siadaj.

— Ale czy ja panu nie przeszkadzam? — spytała nieśmiało pani Cottard barona, który, zdziwiony tonem doktora, nie odpowiedział. Nie zostawiając jej tym razem czasu, Cottard powtórzył stanowczo:

— Powiedziałem ci, siadaj.

Po chwili towarzystwo rozeszło się; wówczas p. de Charlus rzekł do Morela:

— Z tej całej historii, lepiej zakończonej niżbyś na to zasługiwał, wyciągam wnioszek, że nie umiesz sobą powodować i że z końcem twojej służby wojskowej odstawię cię sam do ojca, jak archanioł Rafael zesłany przez Boga młodemu Tobiaszowi.

I baron uśmiechnął się z wyniosłą miną i z radością, której Morel, bynajmniej nie zachwycony perspektywą takiego powrotu, nie zdawał się podzielać. Upojony porównaniem siebie z archaniołem a Morela z synem Tobiasza, p. de Charlus nie myślał już o celu

swojego odezwania się, którym było zmacać grunt, aby się dowiedzieć, czy, jak baron tego pragnął, Morel zgodzi się z nim wracać do Paryża. Upojony miłością czy próżnością, baron nie widział — lub udał że nie widzi miny skrzypka, bo zostawiwszy go samego w kawiarni, rzekł do mnie z dumnym uśmiechem:

— Czy pan zauważył, jaki on był szczęśliwy, kiedy go porównał z synem Tobiasza? To dlatego, iż, będąc bardzo inteligentny, rozumiał, że Ojciec przy którym ma żyć od-tąd, to nie jego ojciec cielesny (będący zapewne jakimś okropnym fagasem), ale ojciec duchowy, to znaczy Ja. Co za duma dla niego! Jak hardo podnosił głowę! Jaką uczuł radość, że rozumiał. Jestem pewien, że będzie sobie powtarzał codziennie: „O Boże, któryś dał błogosławionego archanioła Rafała za *przewodnika* twemu słudze Tobiaszowi w długiej podróży, pozwól nam, sługom twoim, aby nas zawsze wspomagał i darzył opieką”. Nie potrzebowałem — dodał baron, mocno przekonany że będzie kiedyś zasiadał przed tronem Boga — mówić mu, że jestem niebiańskim wysłannikiem; rozumiał sam i oniemiał ze szczęścia!

I p. de Charlus (któremu przeciwnie szczęście nie odejmowało mowy), nie troszcząc się o paru przechodniów, którzy się odwracali sądząc że mają przed sobą warjata, wykrzyknął nagle z całych sił, podnosząc dłonie: „Alleluja!”

Pojednanie to położyło jedynie na jakiś czas koniec cierpieniom pana de Charlus; często Morel, wyjechawszy na manewry zbyt daleko aby go baron mógł odwiedzać lub wyprawić mnie doń jako posła, pisał zropaczone i tkliwe listy, gdzie zapewniał barona, że przyjdzie mu skończyć z życiem, ponieważ potrzeba mu, na jakąś okropną rzecz, dwudziestu pięciu tysięcy franków. Nie mówił, co to za okropna rzecz; gdyby zresztą powiedział, byłaby z pewnością zmyślona. Co do samych pieniędzy, p. de Charlus byłby je chętnie posłał, gdyby nie czuł, że to daje Morelowi możliwość obywatelstwa bez niego, a także kupienia sobie innych faworów. Toteż odmawiał, a depesze jego miały suchy i ostry ton głosu barona. Kiedy był pewny ich efektu, pragnął, aby Morel poróżnił się z nim na zawsze, bo przekonany w duchu iż będzie odwrotnie, zdawał sobie sprawę ze wszystkich przykrości, jakie wynikną z tego nieuchronnego stosunku. Ale jeżeli nie przychodziła odpowiedź od Morela, baron nie spał, nie miał już chwili spokoju, tak wielka jest w istocie ilość rzeczy które przeżywamy nie znając ich, oraz wewnętrznych i głębokich realności, które nam pozostają ukryte. Tworzył wówczas wszystkie przypuszczenia co do tej *okropności*, która sprawiała że Morel potrzebuje dwudziestu pięciu tysięcy; dawał jej wszystkie formy, łącząc z nią kolejno wiele imion własnych. Sądzę, że w tych momentach, p. de Charlus (mimo że w owym czasie jego zanikający snobizm wyrównywała już, jeżeli nie przewyższała, rosnąca ciekawość jaka zbudziła się w baronie w stosunku do ludu) musiał sobie przypominać z niejakim żalem wdzięczne i barwne kręgi światowych zebrań, gdzie najbardziej czarujące osoby — mężczyźni i kobiety — szukały jego towarzystwa jedynie dla bezinteresownej przyjemności, gdzie nikt nie myślałby o tem aby go „nabrać”, aby wymyślić „okropną rzecz”, grożącą samobójstwem, o ile nie wysze zaraz dwudziestu pięciu tysięcy. Sądzę, że wówczas — i może dlatego że baron pozostał jednak bardziej „z Combray” odemnie, przyczem zaszczepił feudalną dumę na pysze niemieckiej — musiał uważać, że nie jest się bezkarnie kochankiem od serca lokajskiego dziecka, że lud to nie jest całkiem to samo co „świat”, i w sumie nie miał tego zaufania do ludu, jakie ja miałem zawsze.

Następna stacja kolejki, Maineville, przypomina mi właśnie pewne wydarzenie dotyczące Morela i pana de Charlus. Zanim o niem wspomnę, muszę powiedzieć, że przystanek Maineville (kiedy się wiozło do Balbec eleganckiego przybysza, który, aby nie być natrętnym, wołał nie mieszkać w la Raspelière) bywał terenem scen mniej przykrych, niż tą którą opowiem za chwilę. Gość, mając swoje walizki w pociągu, uważał często że Grand Hotel jest trochę daleko; że jednak przed Balbec były tylko małe plaże z niewygodnymi willami, tedy, przez kult dobrobytu i zbytku, godził się z dalszą siedzibą. I oto, w chwili gdy pociąg stawał w Maineville, spostrzegł nagle wylaniający się *Palace*, o którym nie mógł przypuszczać, że to jest dom publiczny. „Ależ zostaniemy tutaj — mówił niechybnie do pani Cottard, osoby znanej jako charakter zaradny, praktyczny. Oto właśnie czego mi trzeba. Poco wlec się do Balbec, gdzie z pewnością nie będzie nic lepszego. Już z samego wyglądu wnoszę, że tu musi być wszelki komfort; doskonale będę mógł zaprosić tutaj panią Verdurin, bo zamierzam, wzamian za jej uprzejmości, wydać parę zebrań na

jej cześć. Będzie miała bliżej niż gdybym zamieszkał w Balbec. To mi się wydaje idealne dla niej i dla pańskiej żony, drogi profesorze. Muszą tam być salony, sprowadzimy damy. Między nami mówiąc, nie rozumiem czemu, zamiast wynajmować la Raspelière, pani Verdurin nie zamieszkała tutaj. To o wiele zdrowsze niż stare domy takie jak la Raspelière, która jest niechybnie wilgotna, nie będąc zresztą czysta; niema tam gorącej wody, nie można się porządnie umyć. Maineville wydaje mi się znacznie przyjemniejsze. Pani Verdurin doskonale grałaby tu rolę gospodyni. W każdym razie, każdy ma swoje gusty; ja zamieszkał tutaj. Pani Cottard, czy pani nie zechce wysiąść ze mną? — ale spieszymy się, bo pociąg zaraz ruszy. Oprowdzi mnie pani po tym domu, który będzie pani domem i gdzie pani musiała nieraz bawić. To rama jak stworzona dla pani.

Ledwie z największą trudnością zdołało się uciszyć gadułę, a zwłaszcza nie dać mu wysiąść. Z uporem często towarzyszącym gaffie, nieszczęsny gość nalegał, ściągał walizki i nie chciał nic słyszeć, dopóki go nie upewniono, że nigdy pani Verdurin ani pani Cottard nie przyjechałyby tam do niego. „W każdym razie, ja rozbijam namioty tutaj — mówił. — Niech pani Verdurin poprosto napisze tu do mnie”.

Wspomnienie dotyczące się Morela wiąże się ze specjalniejszym wypadkiem. Były i inne, ale ja poprzestaję tutaj, w miarę jak się kolejka zatrzymuje i jak konduktor wykrzykuje Doncierres, Gralevast, Maineville, etc., na zanotowaniu tego, co mi nasuwa mała plaża lub garnizon. Mówiłem już o Maineville (*media villa*) i o ważności jakiej nabierała ta miejscowość dzięki zbytkownemu domowi rozpusty, który tam świeżo wzniesiono, nie bez daremnych protestów ze strony żon i matek. Ale, nim powiem, w czym Maineville ma w mojej pamięci jakiś związek z Morelem i z panem de Charlus, trzeba mi zanotować dysproporcję (którą później zgłębię) między wagą, jaką przywiązywał Morel do zachowania dla siebie niektórych godzin, a błahością zatrudnień, na jakie zamierzał ich użyć, ile że ta sama dysproporcja powtarzała się w innego rodzaju wyjaśnieniach, jakie skrzypek dawał panu de Charlus. On, który zgrywał się wobec barona na bezinteresowność (i mógł się zgrywać bez ryzyka, zważywszy hojność jego protektora), ilekroć chciał spędzić wieczór na własną rękę aby udzielić jakiejś lekcji etc., nie omieszkwał poprzeć swojego pretekstu słowami wymawianymi z uśmiechem chciwości: „A przytem, to mi da czterdzieści franków zarobku. To nie byle co. Niech mi pan pozwoli tam iść, bo widzi pan, to jest zysk dla mnie. Ba, ja nie jestem bogacz jak pan, ja muszę sobie stworzyć sytuację, to jest moment aby ciuć.”

Pragnąc odbyć swoją lekcję, Morel nie był całkiem nieuczciwy. Z jednej strony fałszem jest, aby pieniąż nie miał barwy. Nowy sposób zarobku przywraca blask monecie, szerniałej w obiegu. Gdyby naprawdę Morel szedł na lekcję, możebne jest, iż dwa ludwiki wręczone przez uczenicę dałyby mu inne wrażenie niż dwa ludwiki któreby mu spadły z ręki pana de Charlus. Następnie, najbogatszy człowiek zrobiłby dla dwóch ludwików kilometry, które stają się milami, jeżeli się jest synem lokaja. Ale nieraz p. de Charlus miał co do lekcji skrzypek grube wątpliwości, zwłaszcza że często muzyk wydobywał preteksty innego rodzaju, całkowicie bezinteresowne pod względem materialnym, zresztą niedorzeczne. Morel nie mógł przeszkodzić, aby baron tworzył sobie obraz jego życia; ale dobrowolnie i mimowolnie obraz ten zaciemniał tak, że jedynie niektóre partje dało się rozpoznać. Przez miesiąc oddał się do dyspozycji pana de Charlus, pod warunkiem aby miał wieczory wolne; miał ochotę przejść pełny kurs algebry. Zająć potem do pana de Charlus? Och, to niemożliwe: kurs kończy się czasem bardzo późno. — Nawet po drugiej w nocy? — pytał baron. — Bywa i tak. Ale przecież algebry można się nauczyć z książki. — Nawet łatwiej, bo ja nie wiele rozumiem z wykładu. — Zatem co? Zresztą algebra nie zda ci się na nic. — Ja to lubię. To mi leczy neurastenję.

— Nie dla algebry bierze przepustki na noc — powiadał sobie p. de Charlus. — Czyżby on był z tajnej policji?

Bądź jak bądź, nie zważając na żadne obiekcje, Morel zachowywał sobie niektóre późne godziny, czy to z przyczyny algebry czy skrzypek. Pewnego razu nie było to ani jedno ani drugie; poprosto książkę Gilbert, przybywszy na kilka dni na wybrzeże aby złożyć wizytę księżnej de Luxembourg, spotkał muzyka, nie wiedząc kto to jest, sam mu również nieznanym, i ofiarował mu pięćdziesiąt franków za to aby spędzić razem noc w zamtużie w Maineville; podwójna przyjemność dla Morela: zarobek od pana de Guermantes i rozkosz bliskości kobiet, których brunatne piersi widzi się bez osłonek. Nie wiem, jak p.

de Charlus wpadł na trop faktu i miejsca, ale nie osoby uwodziciela. Oszałały zazdrością i chcąc wiedzieć jego nazwisko, zatelegrafował do Jupiena, który przybył w dwa dni. Kiedy, z początkiem następnego tygodnia, Morel oświadczył że go znów nie będzie, baron spytał Jupiena, czy się podejmie przekupić gospodynię zakładu i uzyskać od niej to, aby baron z Jupieniem mogli z ukrycia asystować całej scenie. „Załatwione, ja się tem zajmę, dziubasku” — odparł Jupien. Trudno pojąć, do jakiego stopnia ten niepokój wzburzał i przez to samo wzbogacił chwilowo umysł pana de Charlus. Miłość sprawia w ten sposób istne geologiczne wzdymania się myśli. W duszy pana de Charlus, która przed kilku dniami podobna była do równiny tak jednostajnej że na najdalszym horyzoncie nie mógłby spostrzec idei wznoszącej się ponad ziemię, nagle wyrosły, twarde jak kamień, łańcuchy gór, i to gór tak wyrzeźbionych, jakgdyby jakiś rzeźbiarz, zamiast wywieźć marmur, wyczelował go na miejscu: w olbrzymich i tytanicznych grupach wily się tam Wściekłość, Zazdrość, Ciekawość, Zawieść, Nienawiść, Cierpienie, Duma, Przerażenie i Miłość.

Tymczasem nadszedł wieczór, gdy Morel miał być nieobecny. Misja Jupiena powiodła się. Obaj z baronem mieli przyjść około jedenastej, obiecano ich ukryć. Na trzy ulice przed tym wspaniałym zamtuzem (dokąd pielgrzymowano ze wszystkich eleganckich okolic), p. de Charlus szedł na palcach, zmieniał głos, błagał Jupiena aby mówił ciszej, z obawy aby ich Morel stamtąd nie usłyszał. Otóż, z chwilą gdy weszli na palcach do sieni. p. de Charlus, nie nawykły do tego rodzaju zakładów, znalazł się, ku swej zgrozie i zdumieniu, w miejscu hałaśliwszem niż giełda lub hala licytacyjna. Próżno zalecał stłumienie głosu subretkom, które się cisnęły do niego: głos ich pokrywały zresztą krzyki i nawoływania starej makareli w peruce zbyt czarnej, o twarzy na której luszczyla się powaga rejenta lub hiszpańskiego księdza. Dama ta wykrzykiwała co minutę, z łoskotem gromu, każąc kolejno otwierać i zamykać drzwi, tak jak się reguluje ruch pojazdów: „Dajcie pana pod dwudziesty ósmy, pokój hiszpański. — Niema miejsca, komplet. — Puśćcie, ci panowie żądają panny Noemi. Oczekuje ich w salonie perskim.”

P. de Charlus wystraszony był jak prowincjusz, gdy ma przebyć bulwary; aby zaś sięgnąć po porównanie nieskończenie mniej świętokradzkie niż motyw kapitelów w kruchcie starego kościoła w Corlesville, powiedzmy iż głosy młodych służebnic powtarzały ciszej ale niestrudzenie rozkaz gospodyni, niby owe modlitwy, które uczniowie psalmodjują w ciszy wiejskiego kościoła. Choć tak spłoszony, p. de Charlus, który na ulicy drżał że go usłyszą, przekonany iż Morel stoi w oknie, mniej był może przestraszony w zgiełku tych olbrzymich schodów, pojmując że z pokojów niepodobna coś widzieć. Wreszcie, u kresu swojej udręki, znalazł pannę Noemi, która miała go ukryć z Jupieniem, ale zaczęła od tego, że zamknęła barona we wspaniałym salonie perskim, skąd nie widział nic. Oświadczyła, że Morel zażądał szklanki oranżady i że z chwilą gdy mu ją podadzą, zaprowadzi się obu gości — barona z Jupieniem — do przeźroczyściego salonu. Narazie, ponieważ ją wzywano, panna Noemi przyrzekła im, jak we frywolnej opowiadce, że, dla skrócenia czasu, przysła im „inteligentną młodą osobę”. Ją samą wzywają. Inteligentna młoda osoba miała na sobie perski peniuar, który chciała zdjąć. P. de Charlus powstrzymał ją od tego; zaczęła kazać sobie podać szampana, po 40 franków butelka.

W rzeczywistości Morel był przez ten czas z księciem Gilbertem de Guermantes; udał dla formy, że zmylił drogę, wszedł do pokoju gdzie były dwie kobiety, które coprędzej zostawiły obu panów samych. P. de Charlus nic o tem wszystkim nie wiedział, ale kłął, chciał otwierać drzwi, kazał wołać z powrotem pannę Noemi, która, usłyszawszy że inteligentna młoda osoba daje panu de Charlus co do Morela informacje niezgodne z temi jakich ona sama udzieliła Jupienowi, przepędziła ją i przysłała niebawem zamiast młodej osoby inteligentnej, „młodą osobę milusią”, która im nie pokazała nic więcej, ale stwierdziła jaki ten zakład jest „odpowiedzialny” i też zażądała szampana. Baron, pieniąc się, kazał sprowadzić pannę Noemi, która oświadczyła: „Tak, to trwa trochę długo, te panie pozują się; nie wydaje się aby gość się decydował.” Wreszcie, wobec obietnic i gróźb barona, panna Noemi odeszła z niezadowoloną miną, upewniając, że nie będą czekali dłużej niż pięć minut. To pięć minut trwało godzinę, poczem Noemi zaprowadziła na palcach pijanego wściekłością pana de Charlus oraz zrozpaczonego Jupiena do uchylonych drzwi, powiadając: „Będziecie świetnie widzieli. Zresztą w tej chwili to nie bardzo interesujące; jest z trzema damami i opowiada im o życiu w pułku.”

Wkońcu, baron mógł coś dojrzyć przez szparę, a także w lustrach. Ale śmiertelny przestrach kazał mu się oprzeć o ścianę. Miał przed sobą Morela, ale jakgdyby pogańskie misterja i czary istniały jeszcze, był to raczej cień Morela, Morel zabalsamowany, nawet nie Morel wskrzeszony jak Łazarz, zjawa Morela, widmo Morela, Morel-upiór wywołany w tym pokoju (gdzie wszędzie ściany i kanapy nosiły godła czarnoksiężskie), stojący o kilka metrów od barona z profilu. Morel stracił — niby po śmierci — wszelką barwę; pośród tych kobiet, z którymi — zdawałoby się — powinienby igrać radośnie, stał blade, zamrożony w sztucznym bezruchu; chciał wypić kubek szampana, bezsilne ramię próbowało się wyciągnąć i opadało. Miało się wrażenie owej dwuznaczności, która sprawia że jakaś religia głosi nieśmiertelność, ale rozumie pod tem coś, co nie wyklucza nicości. Kobiety oblegały Morela pytaniami: „Widzi pan — mówiła Noemi do barona; rozmawiają z nim o życiu w pułku, to zabawne, nieprawdaż — zaśmiała się — czy pan zadowolony? Spokojny jest, nieprawdaż — dodała tak jakby mówiła o umierającym. Pytania kobiet stawały się natarczywsze, wyzuty z życia Morel nie miał siły odpowiadać. Nie ziscił się cud nawet szeptu z jego ust. P. de Charlus miał tylko chwilę wahania, zrozumiał prawdę; czy to niezręczność Jupiena kiedy poszedł pertraktować, czy siła ekspansji powierzonych sekretów, która sprawia, że się ich nie dochowuje nigdy, czy wrodzona niedyskrecja takich kobiet, czy obawa policji, dość że uprzedzono Morela, iż dwaj panowie zapłacili bardzo słono za to aby go oglądać. Uprzątnięto księcia Gilberta, zmieniając go w trzy kobiety, i umieszczono tam Morela drżącego, sparaliżowanego zdumieniem, tak że o ile p. de Charlus widział go lichy, on, steroryzowany, bez głosu, nie śmiejąc nawet ująć szklanki z obawy by jej nie upuścić, widział dokładnie barona.

Historja zresztą nie skończyła się zbyt dobrze dla księcia Gilberta. Kiedy go wyprawdzono, aby go p. de Charlus nie zobaczył, księżę, wściekły za swój zawód, nie wiedząc kto jest jego sprawcą, błagał Morela — wciąż nie chcąc mu zdradzić kim jest — aby następnej nocy przybył na schadzkę do willi wynajętej umyślnie przez księcia. Mimo że nie miał zamiaru w niej pozostać, przybrał ją (manja, obserwowana już swego czasu u pani de Villeparisis) mnóstwem pamiątek rodzinnych, aby się czuć bardziej u siebie. Zatem, na drugi dzień, Morel, odwracając się co chwila, drżąc że go p. de Charlus szpieguje i tropi, wkońcu, nie spotkawszy nikogo podejrzanego, wszedł do willi. Lokaj wprowadził go do salonu, oświadczając że pójdzie uprzedzić pana (księżę Gilbert zabronił mu wymawiać tytułu „księżę”, aby nie budzić podejrzeń). Ale kiedy Morel znalazł się sam i chciał sprawdzić w lustrze, czy mu się włosy nie zburzyły, miał wrażenie jakiejś halucynacji. Fotografie na kominku, znajome skrzypkowi, bo je widział u pana de Charlus — fotografie księżnej Marji de Guermantes, księżnej de Luxembourg, pani de Villeparisis — przejęły go w pierwszej chwili dreszczem. W tej samej chwili spostrzegł fotografię pana de Charlus, trochę w tyle. Baron zdawał się wpijać w Morela dziwne i uporczywe spojrzenie. Oszalały ze strachu, Morel, ocknąwszy się z pierwszego zdumienia, nie wątpiąc iż to p. de Charlus zwabił go w pułapkę, aby doświadczyć jego wierności, zbiegł po cztery schody, wypadł z willi, puścił się pędem. Kiedy księżę Gilbert (który uważał, że przelotnego znajomego trzeba trochę wytrzymać, przyczem zastanawiał się czy to wogóle jest rozsądnie i czy to nie jest niebezpieczny osobnik) wszedł do salonu, nie zastał już nikogo. Daremnie, wraz z lokajem, z obawy rabunku, przetrząsnął z rewolwerem w dłoni niewielki domek, ogród, suteryny; towarzysza, którego obecności w domu był przecież pewny, znikł. Spotkał go kilka razy następnego tygodnia. Ale za każdym razem Morel, ów niebezpieczny osobnik, zmykał tak, jakby księżę był jeszcze niebezpieczniejszy. Utwierdziwszy się w swoich podejrzeniach, Morel nie pozbył się ich nigdy, i nawet w Paryżu widok księcia Gilberta wystarczał aby go spłoszyć. Dzięki czemu, p. de Charlus uniknął zdrady, która go przywozдила do rozpacz, oraz znalazł pomstę, nigdy nie dowiedziawszy się o niej, ani zwłaszcza jak się spełniła.

Ale już wspomnienie tej anegdoty ustępuje miejsca innym wspomnieniom, bo „samowarek”, podejmując swój kręty bieg, wciąż wysadza lub zabiera podróżnych na stacjach.

W Grattevast wsiadał czasami pan Piotr de Verjus, hrabia de Crécy (nazywano go tylko hrabią de Crécy). Wracał od siostry, która tam mieszkała. Był to szlachcic ubogi, ale nadzwyczaj dystyngowany; poznałem go przez Cambremerów, z którymi był zresztą dość daleko. Skazany był na życie nadzwyczaj skromne, prawie nędzne; czułem iż cygario

lub przekąska są dlań rzeczą tak przyjemną, że przyzwyczałem się, w dniu kiedy nie mogłem widzieć się z Albertyną, zapraszać go do Balbec. Bardzo subtelny, wystawiający się doskonale, całkiem siwy, z uroczeni błękitnymi oczami, mówił od niechcienia, bardzo delikatnie, o komforcie pańskiego życia, które najwidoczniej znał, a także o genealogjach. Kiedy go pytałem, co jest wyryte na jego pierścionku, odpowiedział ze skromnym uśmiechem: „Gałązka wina” i dodał jakby smakując: — Nasz herb to gałązka wina — symboliczna, skoro nazywam się Verjus<sup>959</sup> — z łądą i zielonym liściem.” Ale sądzę, że doznałby zawodu, gdybym go w Balbec poczęstował tylko sokiem z niedojrzałych winogron. Lubił najlepsze wina, których był pierwszorzędnym znawcą. Toteż, kiedy go zapraszał na obiad do Balbec, hrabia układał menu z wyrafinowaną sztuką, ale jadł trochę za dużo, a zwłaszcza pił, każąc grzać wina którym się to należy, mrozić te które wymagają lodu. Przed obiadem i po obiedzie wymieniał datę lub numer portu lub koniaku których sobie życzył, tak jak byłby cytował datę stworzenia jakiegoś margrabstwa, jemu jednemu znaną z całą ścisłością.

Ponieważ byłem ulubionym klientem Aimégo, uszczęśliwiony był, że wydają te specjalne obiady i krzyczał na garsonów: „Prędko, nakryjcie stół 25”; mówił nawet nie „nakryjcie”, ale „nakryjcie mi”, tak jakby to było dla niego. A że gwara metrdotelów jest nie zupełnie ta sama co język kelnerów, starszych kelnerów, pikolów, w chwili gdy prosił o rachunek, Aimé mówił garsonowi, który nas obsługiwał, z kilkakrotnie powtarzanym łagodzącym gestem, tak jakby chciał uspokoić konia gotowego ponieść. „Nie za ostro (z rachunkiem); łagodnie, łagodnie.” Potem, kiedy garson odchodził opatrzone tem *memento*, Aimé, bojąc się czy zalecenia będą dość ściśle wykonane, odwoływał go: „Czekaj, ja sam policzę.” A, kiedy mówiłem że to nic nie szkodzi, odpowiadał: „Mam za zasadę, że — jak się to mówi pospolicie — nie powinno się obdzierać gościa ze skóry.” Co się tyczy dyrektora, ze względu na skromny, zawsze jednaki i dość zużyty strój mojego gościa (a przecie nikt nie umiałby się ubrać tak wytwornie, niczem balzakowski elegant, gdyby miał środki), ograniczał się przez szacunek dla mnie do tego, aby zdaleka doglądać czy wszystko jest w porządku i spojrzeniem kazać podstemplować nogę stołu który się kiwał. Nie znaczy to, aby dyrektor nie umiał zakasać rękawów, mimo iż krył się z tem, że zaczął od zawodu pomywacza. Trzeba było jednak wyjątkowej okoliczności na to, aby pewnego dnia sam pokrajał indyki. Nie było mnie wówczas w hotelu, ale dowiedziałem się, że dokonał tego z kapłańskim majestatem, otoczony — w pełnej szacunku odległości od kredensu — kręgiem garsonów, którzy pragnęli przez to nietyle się nauczyć, ile pokazać się zwierzchnikowi, z twarzą obleczoną w wyraz błędnego zachwytu. Zresztą dyrektor (zatapiający powolnym gestem nóż w łonie ofiar i nie odrywający już oczu od swojej wzniosłej czynności, tak jakby miał z niej czytać jaką wróżbę) nie widział ich zgola. Ofiarnik nie spostrzegł nawet mojej nieobecności. Kiedy się o niej dowiedział, bolał nad tem. „Jakto! nie widział pan, jak sam krajałem indyki?” Odpowiedziałem, że nie mogąc dotąd zobaczyć Rzymu, Wenecji, Sienny, Prado, galerji drezdeńskiej, Indyj, Sary Bernhardt w *Fedrze*, znam rezygnację i że mogę dołączyć jego indyki do tej listy. Porównanie ze sztuką dramatyczną (Sara w *Fedrze*) było jedynem, które zdawał się rozumieć, bo wiedział przezemnie, że w dniu galowych przedstawień sam wielki Coquelin przyjmuje „ogony”, nawet rolę w której ma do powiedzenia jedno słowo lub nic. „Wszystko jedno — rzekł — przykro mi za pana. Kiedyż będę krajał znowu! Trzebaby na to wielkiego wydarzenia, trzebaby wojny”. (W istocie, trzeba było zawieszenia broni). Od tego dnia, kalendarz uległ zmianie, liczono tak: „To było nazajutrz po dniu, kiedy sam krajałem indyka.” „Słusznie, to było w tydzień po tem jak dyrektor sam krajał indyka.” Toteż operacja ta dała, jak Narodzenie Chrystusa lub Hegir, punkt wyjścia kalendarzowi różnemu od innych, mimo iż nie zdołał się tak rozpowszechnić i utrwalić.

Smutek życia pana de Crécy płynął porówni stąd, że już nie miał koni ani smacznego stołu, jak stąd że sąsiaduje z ludźmi, zdolnymi myśleć iż Cambremer i Guermantes to jedno i to samo. Kiedy ujrzał, że wiem, iż Legrandin, który kazał się teraz nazywać Legrand de Méséglise, nie ma do tego żadnego prawa, p. de Crécy; podniecony zresztą winem, wpadł w istny szal radości. Siostra jego mówiła mi porozumiewawczo: „Brat jest zawsze taki szczęśliwy kiedy może porozmawiać z panem.” W istocie, czuł że żyje, od

<sup>959</sup>Verjus — sok z niedojrzałych winogron. [przypis redakcyjny]



czasu jak znalazł kogoś świadomego mierności Cambremerów a wielkości Guermantów, kogoś dla kogo istniał wszechświat socjalny. Tak po pożarze wszystkich bibliotek kuli ziemskiej i po wyłonieniu się rasy całkowicie ciemnej, jakiś stary latynista odzyskałby ducha i wiarę w życie, słysząc jak ktoś cytuje wiersz Horacego. Toteż, jeżeli p. de Crécy nigdy nie wysiadł z wagonu, nie powiedziawszy mi: „Kiedyż nasze miłe posiedzonko?”, wyrażało się w tem porówni łakomstwo pieczeniara co smakoszostwo erudyty; ucza w Balbec stanowiła dlań zarazem sposobność gwarzenia o rzeczach które mu były drogie a o których nie mógł mówić z nikim; coś w rodzaju owych obiadów, gdzie w oznaczone dni spotyka się Towarzystwo bibliofilów przy specjalnie smakowitym stole *Cercle de l'Union*.

P. de Crécy był bardzo skromny w tem co tyczyło jego rodziny; nie od niego dowiedziałem się, że była bardzo stara — autentyczna francuska gałąź angielskiego rodu, noszącego tytuł *de Crécy*. Kiedy się dowiedziałem, że on jest prawdziwy Crécy, opowiedziałem mu, że siostrzenica pani de Guermantes zaślubiła Amerykanina nazwiskiem Karol Crécy, wyrażając przypuszczenie, że to niema z nim żadnego związku. „Żadnego — odparł. Tak samo — mimo iż zresztą rodzina moja nie jest równie świetna — jak wielu Amerykanów, którzy nazywają się Montgomery, Berry, Chaudos albo Capel, nie ma żadnego związku z rodzinami Pembroke, Buckingham, Essex lub z księciem de Berry.” Kilka razy chciałem mu powiedzieć, dla zabawienia go, że znam panią Swann, która, jako kokotka, znana była niegdyś pod nazwiskiem Odety de Crécy; ale, mimo iż książę d'Alençon nie mógłby się urazić, gdyby się mu wspomniało o kokotce d'Alençon, nie czułem się dość blisko z panem de Crécy, aby sobie pozwolić na takie żarty. „On jest z bardzo wielkiej rodziny — powiedział mi raz p. de Montsurvent. Jego rodowe miano jest Saylor.” I dodał, że na jego starym kasztelu nad Incarville (zresztą prawie niemieszkalnym, bo p. de Crécy, mimo że z domu bardzo bogaty, był dziś zanadto zrujnowany aby móc odnowić ów zamek), widniało jeszcze stare zawołanie jego rodziny. Godło to wydało mi się bardzo piękne, czy w zastosowaniu do drapieżnej rasy usadowionej w tem gnieździe, skąd musiała niegdyś zrywać się do lotu, czy też dziś, w zastosowaniu do jej schyłku, do oczekiwania bliskiej śmierci w tem wyniosłym i dzikim odludziu. W tym podwójnym sensie w istocie igra z nazwiskiem Saylor owo zawołanie, które brzmi:

*Ne sçais l'heure* — „nie znam godziny.”

W Hermenonville wsiadał czasami p. de Chevrigny, którego nazwisko (jak nam powiadał Brichot) oznaczało, jak nazwisko arcybiskupa de Cabrieres, miejsce gdzie się gromadzą kozy. Był krewnym Cambremerów; z tej racji ci zapraszali go często do Féterne, ale przez fałszywe poczucie elegancji, tylko wówczas, kiedy nie mieli gości którychby chcieli olśnić. Żyjąc cały rok w Beausoleil, p. de Chevrigny pozostał większym prowincjuszem od nich. Toteż, kiedy mu się zdarzyło spędzić kilka tygodni w Paryżu, nie przepuścił ani dnia w oglądaniu tego „co trzeba widzieć”, tak iż czasem, nieco oszołomiony nadmiarem zbyt szybko trawionych widowisk, kiedy go pytano czy widział jaką sztukę, nie był już tego pewny. Ale ta niepewność zdarzała się rzadko, bo znał sprawy paryskie z precyzją właściwą ludziom, którzy nie często bywają w tem mieście. Radził mi „nowości” godne oglądania („to warto widzieć”), biorąc je zresztą tylko jako spędzenie wieczoru, zgoła nieświadomy punktu widzenia estetycznego, tak iż nie podejrzewał, że mogą one w istocie stanowić czasem „nowość” w historii sztuki. I tak, mówiąc o wszystkim na jednym planie, powiadał:

— Poszliśmy raz do Opéra Comique, ale to nie było nadzwyczajne. Ma tytuł *Pelleas i Melisanda*, wielkie nic. Périer gra zawsze dobrze, ale lepiej go zobaczyć w czem innem. W zamian za to, w Gymnase grają *La Châtelaine*. Byliśmy na tem dwa razy, niech pan nie zapomni tam iść, to warte widzenia; grane przytem wspaniale, Frévalles, Marie Magnier, Baton młodszy.

Cytował nazwiska aktorów, o których nigdy nie słyszałem, nie poprzedzając ich tytułem *Monsieur*, *Madame* lub *Mademoiselle*, jakby to zrobił książę Błażej, który mówił jednakim ceremonialnie wzgardliwym tonem o „piosenkach panny Yvette Guilbert” i o „doświadczeniach pana Charcot.” P. de Chevrigny postępował odwrotnie: mówił Cornaglia i Dehelly, tak jakby mówił Wolter i Montesquieu. Bo u niego, w stosunku do aktorów jak do wszystkiego co paryskie, nad chęcią okazania arystokratycznej wzgardy, górowała gorliwość prowincjusza, żadnego być paryżaninem.

Po pierwszym obiedzie, jaki spożyłem w la Raspelière z tymi których nazywano jeszcze w Féterne „młodem państwem”, mimo że państwo de Cambremer byli wcale nie pierwszej młodości, stara margrabina napisała do mnie jeden z owych listów, których styl poznaje się wśród tysiąca. Pisała: „Niech pan przywiezie swoją kuzynkę — rozkoszną — uroczą — miłą. To będzie dla nas prawdziwe szczęście — przyjemność!” chybiając zawsze tak nieomylnie progresji oczekiwanej przez adresata, że zmieniłem w końcu zdanie o charakterze tych *diminuendo*, dochodząc do wniosku, że są rozmyślnie i znalazłem w nich nawet tę samą rozpustę smaku — przeniesioną w zakres towarzyski — jaka popychała Sainte Beuve’a do łamania wszystkich powinowactw słowa, do zmieniania wszelkiego bodaj trochę utartego zwrotu. Dwie metody, przekazane z pewnością przez dwóch różnych mistrzów, zderzały się w tym stylu epistolarnym; druga z nich kazała okupywać pani de Cambremer banalność licznych przymiotników użyciem ich w gamie zstępującej, przyczem unikała zakończenia zdania doskonałym akordem. W zamian za to, byłem skłonny widzieć w tych odwrotnych stopniowaniach już nie wyrafinowanie, jak wówczas kiedy były dziełem starej margrabiny, ale niezręczność — ilekroć się niemi posługiwał jej syn lub jej kuzynki. Bo w całej rodzinie, nawet dalszej, kult i naśladownictwo ciotki Zelji utrzymywało we czci regułę trzech przymiotników, tak samo jak pewną entuzjastyczną manierę chwywania oddechu. Naśladownictwo to przeszło w krew; kiedy w rodzinie od dzieciństwa dziewczynka przerywała sobie aby przełknąć ślinę, powiadano: „Ma coś z ciotki Zelji”; przeczuwano, że wargi jej dość wcześnie będą skłonne ocienić się lekkim wąsikiem i obiecywano sobie pielęgnować jej talenty muzyczne.

Stosunki Cambremerów z panią Verdurin stały się niebawem o wiele gorsze niż ze mną, a to z wielu przyczyn. Chcieli ją zaprosić. Młoda margrabina mówiła do mnie wzgardliwie: „Nie widzę, czemu nie mielibyśmy zaprosić tej osoby; na wsi widuje się byle kogo, to nie pociąga następstw.” Ale w gruncie rzeczy dość tem przejęci, nie przestawali się mnie radzić co do sposobu w jaki należało im zrealizować swoje intencje. Pomyślałem, że skoro zaprosili na obiad Albertynę i mnie wraz z przyjaciółmi Roberta de Saint-Loup, eleganckimi ludźmi z sąsiedztwa, właścicielami zamku w Gourville (trochę więcej niż „śmietanka” normandzka, której pani Verdurin, mimo iż tego nie okazując, była łasa), poradziłem Cambremerom, aby doprosili na to wszystko „pryncypałkę”. Ale państwo z Féterne, z obawy (tacy byli nieśmiali) urażenia swoich szlachetnych przyjaciół, lub (tacy byli naiwni) z obawy że państwo Verdurin mogą się znudzić z ludźmi nie należącymi do intelektualistów, a może wreszcie (ile że sami nasiąkli rutyną, której doświadczenie nie zapłodniło) z obawy pomieszenia rodzajów i popełnienia „gaffy”, oświadczyli, że to się nie klei razem, że toby nie „klapowało”, i że lepiej będzie zachować panią Verdurin (wraz z całą jej gromadką) na inny obiad. Na najbliższy — ten wykwintny, z przyjaciółmi Roberta — zaprosi się z „paczki” jedynie Morela, aby p. de Charlus dowiedział się pośrednio o świetności ich zebrań, a także aby muzyk przyczynił się do zabawienia gości, bo poproszą go żeby wziął z sobą skrzypce. Doproszono do niego Cottarda, bo p. de Cambremer orzekł, że profesor ma humor i że „dobrze robi” na obiedzie; a przy tem niezłe jest być w stosunkach z lekarzem, na wypadek choroby w domu. Ale zaproszono profesora samego, aby „nie zaczynać z żoną”. Pani Verdurin była oburzona, kiedy się dowiedziała, że dwóch członków „paczki” zaproszono bez niej na obiad w Féterne w „małym kółku”. Podyktowała doktorowi, którego pierwszym odruchem było przyjąć, dumną odpowiedź, w której pisała: „*Jesteśmy* dziś na obiedzie u pani Verdurin”: liczba mnoga, która miała być lekcją dla Cambremerów i miała im pokazać, że nie da się rozłączyć doktora z panią Cottard. Co do Morela, pani Verdurin nie potrzebowała mu wytyczać linii impertynencji, którą obrał samorzutnie. Oto czemu. O ile Morel, w tem co tyczyło własnych przyjemności, zachowywał w stosunku do pana de Charlus niezależność, która martwiła barona, widzieliśmy, iż wpływ barona bardziej dawał się uczuć w innych dziedzinach; tak np. p. de Charlus rozszerzył wiadomości muzyczne i uszlachetnił styl wirtuoza. Ale był to jeszcze — przynajmniej w tym momencie naszego opowiadania — jedynie wpływ. W zamian za to był teren, na którym każde słowo pana de Charlus spotykało się ze ślepą wiarą i posłuszeństwem Morela. Wiarą ślepą i szaloną, bo nie tylko nauki pana de Charlus były fałszywe, ale, gdyby nawet miały wartość z punktu widzenia wielkiego pana, stawały się komiczne stosowane dosłownie przez Morela. Gruntem, na którym Morel stawał się tak łatwowierny i powolny swemu mistrzowi, był teren światowy. Skrzypek, który przed

poznaniem pana de Charlus nie miał najmniejszego pojęcia o „świecie”, wziął dosłownie wyniosły i ogólnikowy szkic, jaki mu w tej mierze nakreślił baron.

— Jest pewna liczba znakomitych rodzin — powiedział p. de Charlus; — przede wszystkim Guermantowie, czternaście razy spokrewnieni z królewskim domem Francji, co jest pochlebne zwłaszcza dla domu Francji, boć przecie Aldonsowi de Guermantes, a nie Ludwikowi Otyłemu, jego przyrodniemu ale młodszemu bratu, powinien być przypaść tron Francji. Za Ludwika XIV nosiliśmy się czarno po śmierci królewskiego brata, jako mający wspólną babkę z królem. O wiele poniżej Guermantów można wszelako wymienić takich La Tremoille, pochodzących od królów Neapolu i od hrabiów de Poitiers; takich d’Uzès, niezbyt dawnych jako ród, ale najstarszych parów; takich Luynes, całkiem świeżych, ale błyszczących aliansami, wreszcie Choiseul, Harcourt, La Rochefoucauld. Dodaj jeszcze nazwisko Noailles — mimo hrabiego Tuluzy<sup>960</sup>; — dodaj Montesquiou, Castellane i — o ile czego nie zapomniałem — to już koniec. Co do wszystkich tych ichmość panów, czy się nazywają margrabiowie de Cambremerde czy Mamciągdzieś, nie ma żadnej różnicy między nimi a ostatnim pucybutem z twojego pułku. Czy pójdziesz zrobić pipi u hrabiny Kaka czy kaka u baronowej Pipi, to na jedno wychodzi; skompromitujesz swoją reputację i weźmiesz zafajdaną ścierkę za papier klozetowy. Co jest nieapetyczne.

Morel przyjął z pietyzmem tę lekcję historii, może trochę sumaryczną; widział świat tak, jakby sam był Guermantem; łaknął sposobności spotkania się z fałszywymi La Tour d’Auvergne, aby wzgardliwym podaniem ręki dać im uczuć, że ich nie bierze zbyt serjo. Co do Cambremerów, właśnie miał sposobność pokazać im, że nie są „niczem więcej niż ostatni pucybut z jego pułku”. Nie odpowiedział na ich zaproszenie i w sam dzień obiadu wymówił się w ostatniej godzinie depeszą, zachwycony, że postąpił jak księżę krwi.

Dodajmy, że nie podobna sobie wyobrazić, do jakiego stopnia wogóle p. de Charlus mógł być nieznośny, spryka, a nawet — on, taki subtelny — głupi we wszystkich okazjach, w których wchodziły w grę wady jego charakteru. Można w istocie powiedzieć, że takie wady są rodzajem okresowego obłędu. Któż nie stwierdził tego faktu u kobiet, a nawet u mężczyzn obdarzonych wybitną inteligencją ale z neuropatycznym obciążeniem? Kiedy są szczęśliwi, spokojni, radzi z otoczenia, wówczas przychodzą do głosu ich cenne dary, rzekłbyś sama prawda przemawia przez ich usta. Lada migrena, lada uraz miłości własnej wystarcza, aby to wszystko zmienić. Świetna inteligencja kurczy się konwulsyjnie i nagle, odbijając już tylko jakieś inne *ja* — przeczulone, podejrzliwe, mizdrzące się, czyniące wszystko aby się przedstawić z najgorszej strony.

Cambremerowie obrazili się bardzo; równocześnie zaś inne wydarzenia sprowadziły pewne napięcie ich stosunków z „paczką”. Pewnego razu, wracaliśmy — Cottardowie, Charlus, Brichot, Morel i ja — z obiadu w la Raspelière; Cambremerowie, którzy mieli śniadanie u przyjaciół w Harambouville, jechali część drogi z nami. „Pan tak kocha Balzaka i tak umie go pan rozpoznawać we współczesnym społeczeństwie — rzekłem do pana de Charlus — iż musi pan mieć wrażenie, że ci Cambremer wyrwali się ze *Scen z życia prowincji*.” Ale p. de Charlus, absolutnie tak jakby był ich przyjacielem i jakby go uraziła moja uwaga, przerwał:

— Mówi pan to dlatego, że żona jest inteligentniejsza od męża — rzekł sucho.

— Och! nie chciałem powiedzieć, aby to była *Muza z zaścianka*, ani pani de Bargeton<sup>961</sup>, mimo że...

P. de Charlus przerwał znowu:

— Powiedz pan raczej: pani de Mortsauf<sup>962</sup>.

Pociąg zatrzymał się, Brichot wysiadł.

— Próżno dawaliśmy znaki, pan jest straszny.

— Jakto?

— Ech, czy pan nie widzi, że Brichot jest śmiertelnie zakochany w pani de Cambremer?

Ujrzałem z zachowania się Cottardów i Morela, że to nie budzi cienia wątpliwości w „paczce”. Sądziłem, że to jakaś złośliwość z ich strony.

<sup>960</sup>Hrabia Tuluzy — nieprawdy syn Ludwika XIV i pani de Montespan. [przypis tłumacza]

<sup>961</sup>Pani de Bargeton — bohaterka *Straconych złudzeń*. [przypis tłumacza]

<sup>962</sup>pani de Mortsauf — idealna bohaterka *Lilji w dolinie* Balzaka. [przypis tłumacza]

— No, czy pan nie zauważył, jaki on był zmieszany, kiedy pan mówił o niej? — podjął p. de Charlus, który lubił okazywać, że zjadł zęby na kobietach, mówiąc o uczuciach, jakie one budzą, z całą naturalnością, tak jakby to był właśnie jego zwyczajny stan duszy. Ale pewien dwuznacznie patryjarchalny ton ze wszystkimi młodymi ludźmi — mimo jego wyłącznej miłości do Morela przeczył tym aforyzmom godnym starego kobieciarza.

— Och! te dzieci — mówił baron krzykliwie, mizdrząc się; — trzeba ich wszystkiego uczyć; niewinne to jak nowonarodzone niemowlę, nie umieją nawet poznać, kiedy ktoś jest zakochany w kobiecie. W pańskim wieku, byłem większy cwaniak — dodał baron, bo lubił używać wyrażen ze świata apaszowskiego, może przez upodobanie, może dlatego aby unikaniem ich nie stwarzać wrażenia że obraca się w świecie gdzie wyrażenia te stanowią potoczny słownik.

W kilka dni później, trzeba mi było poddać się oczywistości i uznać, że Brichot kocha się w margrabinie. Na nieszczęście, był u niej kilka razy na śniadaniu. Pani Verdurin uznała, że czas położyć temu koniec. Poza pożytkiem takich interwencji z punktu widzenia polityki „paczki”, pani Verdurin nabierała coraz to żywszego upodobania w tego rodzaju wyjaśnieniach oraz dramatach będących ich następstwem; upodobanie, które zarówno w świecie arystokratycznym jak w burżuazji rodzi się z próżniactwa. Był to dzień wielkich emocyj w la Raspeliere, kiedy ujrano, jak pani Verdurin znika na godzinę z Brichotem; rychło dowiedziano się, że mu powiedziała, iż pani de Cambremer kpi sobie z niego, że jest pośmiewiskiem jej salonu, że hańbi swoją starość, kompromituje sytuację naukową. Pani Verdurin posunęła się do tego, że mówiła mu we wzruszających słowach o pracce z którą Brichot żył w Paryżu i o ich córeczce. Zwyciężyła; Brichot przestał bywać w Féterne, ale odczuł to tak, iż przez dwa dni sądzono że całkiem straci wzrok; w każdym razie choroba posunęła się i to pogorszenie już zostało.

Tymczasem Cambremerowie, wściekli na Morela, zaprosili raz — i to umyślnie — pana de Charlus ale bez skrzyпка. Nie otrzymując odpowiedzi od barona, bali się, że popełnili gaffę; znajdując, że uraza jest złym doradcą, napisali nieco późno do Morela. Upokorzenie to spowodowało uśmiech pana de Charlus, ukazując mu jego władzę.

— Odpowiesz za nas dwóch, że przyjmuję — rzekł baron do Morela. Kiedy nadszedł dzień obiadu, czekali goście w wielkim salonie w Féterne. Cambremerowie dawali w rzeczywistości obiad dla arcy-śmietanki, jaką byli państwo Féré. Ale tak się bali dezaprobaty pana de Charlus, że mimo iż poznali państwa Féré przez pana de Chevregny, pani de Cambremer dostała niemal gorączki, kiedy w dniu obiadu ujrzała iż także p. de Chevregny przybył z wizytą do Féterne. Użyto wszystkich pozorów, aby go wyprawić możliwie najszybciej, ale nie dość szybko aby się nie minął w dziedzińcu z państwem Féré, którzy byli równie oburzeni wypędzeniem pana de Chevregny jak on sam był niem zawstydzony. Ale Cambremerowie chcieli za wszelką cenę oszczędzić panu de Charlus widoku pana de Chevregny; uważali go za prowincjusza z powodu drobnych odcieni, na które nie zważa się w rodzinie, ale które nabierają wagi wobec obcych — jedynych, którzy by ich właśnie nie spostrzegli. Ale nie jest miło pokazywać krewnych, którzy zostali tem, czem my zdołaliśmy przestać być.

Co się tyczy państwa Féré, byli oni w najwyższym stopniu tem, co się zwie „bardzo dobrze”. W oczach tych co ich określali w ten sposób, z pewnością Guermantowie, Rohanowie i wielu innych byli również „bardzo dobrze”, ale ich nazwisko mówiło samo za siebie. Nie wszyscy znali wysokie urodzenie matki pana Féré, oraz bardzo zamknięte kółko w jakim państwo Féré bywali; toteż, kiedy przyszło ich wymieniać, dodawano zawsze dla objaśnienia, że oni są „nie można lepiej”. Czy pospolite nazwisko narzucało im wyniosłą wstrzeźliwość? Bądź co bądź, faktem jest, że państwo Féré nie bywali u ludzi, u których bywaliby księstwo La Tremoille. Trzeba było sytuacji nadmorskiej królowej, jaką stara margrabina de Cambremer miała w okolicach la Manche, aby państwo Féré zjawili się u niej na podwieczorku raz do roku. Zaproszono ich na obiad i bardzo liczone na efekt, jaki wywrze na nich p. de Charlus. Oznajmiono dyskretnie, że jest na liście gości. Przypadkowo, pani Féré nie знаła barona. Pani de Cambremer odczuła z tego powodu żywe zadowolenie; na twarzy jej błędził uśmiech chemika, który ma zetknąć ze sobą pierwszy raz dwa nadzwyczaj ważne ciała.

Drzwi się otworzyły i pani de Cambremer omal nie zemdlą, widząc że Morel wchodzi sam. Niby sekretarz osobisty mający usprawiedliwić swego ministra, niby morgana-

tyczna małżonka wyrażająca żal że monarcha jest cierpiący (tak czyniła pani de Clinchamp imieniem księcia d'Aumale), Morel oświadczył lekko: „Baron nie będzie mógł się zjawić. Jest trochę niedysponowany, przynajmniej tak sądzę, bo nie widziałem go jakoś w tym tygodniu” — dodał, tem bardziej przywołując ostatnimi słowami do rozpaczy panią de Cambremer, która mówiła państwu Féré, że Morel widuje barona o wszelkiej porze. Cambremerowie udali, że nieobecność barona jest dla zebrania jednym urokiem więcej i kiedy Morel nie mógł słyszeć, powiadali gościom:

— Obejdziemy się bez niego, zabawa jedynie zyska na tem.

Ale byli wściekli, podejrzewali intrygę pani Verdurin i kiedy ta znów zaprosiła ich do la Raspelière, p. de Cambremer, nie mogąc się oprzeć przyjemności oglądania swego domu i znalezienia się w małej paczce, przybył, ale sam, powiadając że margrabina jest w rozpaczy, ale lekarz zabronił jej opuszczać pokoju. Cambremerowie sądzili, że tą połowiczną wizytą dadzą lekcję panu de Charlus, a zarazem pokażą Verdurinom; iż są wobec nich zobowiązani do grzeczności jedynie w pewnej mierze, tak jak księżniczki krwi odprowadzały niegdyś diuszessy, ale tylko do połowy drugiego pokoju.

Po kilku tygodniach, stosunki stanowczo się popsuły. P. de Cambremer komentował to przedemną.

— Powiem panu, że z panem de Charlus to było trudno. On jest straszliwy dreyfusista.

— Ależ nie!

— Owszem... W każdym razie, jego kuzyn, książę Gilbert, jest za Dreyfusem, dosyć sobie na nich strzępiono języki z tego powodu. Mam krewnych bardzo drażliwych na tym punkcie. Nie mogę utrzymywać stosunków z tymi ludźmi, poróżniłbym się z całą rodziną.

— Skoro książę Gilbert jest dreyfusistą — rzekła pani de Cambremer — dobrze się składa, że Saint-Loup (który, jak mówią, żeni się z jego siostrzenicą) jest nim również. To może nawet jest racja tego małżeństwa.

— Och, moja droga, nie mów że Saint-Loup, którego bardzo kochamy, jest dreyfusistą. Nie powinno się lekkomyślnie opowiadać takich rzeczy — rzekł p. de Cambremer. Ładnie byś go urządziła w armji.

— Był, ale już nie jest — rzekłem do pana de Cambremer. Co się tyczy jego małżeństwa z panną de Guermantes-Brassac, czy to prawda?

— Wszyscy tak mówią, ale pan chyba lepiej może wiedzieć.

— Ale powtarzam panu, sam mi powiedział, że jest za Dreyfusem — rzekła pani de Cambremer. To zresztą bardzo zrozumiałe, Guermantowie są nawpół Niemcy.

— Co się tyczy Guermantów z ulicy Varenne, możesz powiedzieć, że są cali Niemcy — rzekł Cancan. Ale Saint-Loup to inna para butów; mimo że ma całą rodzinę niemiecką, ojciec jego ceniał nad wszystko inne swój tytuł francuskiego magnata, wrócił do służby w r. 1871 i zginął na wojnie bardzo piękną śmiercią. Mimo że jestem na tym punkcie bardzo drażliwy, nie trzeba przesadzać ani w jednym ani w drugim kierunku. *In medio... virtus*, och, nie pamiętam już dobrze. To coś, co mówi doktor Cottard. Ten zawsze znajduje właściwe słówko. Musi być tutaj mały Larousse.

Aby uniknąć wypowiedzenia się w sprawie łacińskiego cytatu i aby porzucić temat Roberta de Saint-Loup, w którym mąż wyraźnie uważał, że żona zgrzeszyła brakiem taktu, pani de Cambremer przeszła na „pryncypałkę”, z którą zerwanie było jeszcze pilniejsze do wyjaśnienia.

— Wynajęliśmy chętnie la Raspelière pani Verdurin — rzekła margrabina. Tylko że ona wyobraziła sobie widocznie, iż wraz z domem i wszystkim co potrafiła zagarnąć — użytkowanie łąk, stare makaty, wszystko czego wcale nie było w kontrakcie nabyła co więcej prawo do stosunków z nami. Otóż to są rzeczy absolutnie różne. Nasza wina w tem, żeśmy nie załatwili rzeczy poprostu przez pośrednika lub przez agencję. W Féterne to nie ma znaczenia, ale stąd widzę, jaką minę zrobiłaby ciotka de Ch'nouville, gdyby ujrziała tryndającą się na mój żurek mamę Verdurin z rozwianym włosiem. Co do pana de Charlus, oczywiście on zna osoby *bardzo dobrze*, ale zna także osoby *bardzo źle*.

Poprosiłem o wyjaśnienia. Nagłona pytaniami, pani de Cambremer powiedziała wkońcu:

— Twierdzą, że on utrzymuje jakiegoś pana Moreau, Morille, Morue, sama nie wiem. Oczywiście to nie ma żadnego związku ze skrzyptkiem Morelem — dodała rumieniąc

się. — Kiedym uczuła, że pani Verdurin, dlatego że jest nad morzem naszą lokatorką, wyobraża sobie, że miałaby prawo bywać u mnie w Paryżu, zrozumiałam, że trzeba to przeciąć.

Mimo tego zerwania z pryncypalką, Cambremerowie nie byli źle z „wiernymi” i wsiedali chętnie do naszego wagonu, kiedy się znaleźli w kolejce. Kiedy się dojeżdżało do Douville, Albertyna, wyjmując ostatni raz lusterko, uważała czasem za właściwe zmienić rękawiczki lub zdjęć na chwilę kapelusz i szyldkretowym grzebieniem (prezent ode mnie), tkwiącym we włosach, poprawiała loki, podnosiła węzeł i o ile było trzeba, zwijsza kok nad ondulacją, która spływała kształtnymi falami na kark. Wsiadłszy do powozów, które na nas czekały, nie wiedziało się już gdzie się jest; drogi nie były oświetlone; głośniejszy turkot kół świadczył że się przejeżdża przez wieś, myślał człowiek że już przybywa na miejsce, znów wjeżdżał w szczerze pole, słyszał dalekie dzwony, zapominał że jest w smokingu i zasypiał niemal, kiedy, na końcu tego długiego marginesu ciemności, który, mocą przebieżonego dystansu i zdarzeń charakterystycznych dla jazdy koleją, zdawał się nas nieść aż w daleko posuniętą godzinę nocy i prawie na pół drogi z powrotem do Paryża, naraz, gdy drobniejszy piasek pod kołami powozu zaznaczył fakt wjechania do parku, wybuchały — wprowadzając nas znowuż w życie światowe — błyszczące światła salonu, potem jadalni, gdzie uczuwalismy jakgdyby wstrząs, słysząc że bije ta ósma którą myśleliśmy żeśmy dawno zostawili za sobą, podczas gdy liczne dania i wykwiłne wina oczekiwały wyfraczonych panów i lekko wygorsowane damy, w czasie obiadu skąpanego w świetle niby prawdziwy obiad w mieście; obiadu, który otaczała — jedynie zmieniając przez to jego charakter ciemna i osobliwa podwójna szarfa, którą utkały nocne, sielskie i morskie godziny przybycia i powrotu, odarte przez ten światowy użytek z pierwotnego dostojęstwa. Ten powrót zmuszał nas w istocie do opuszczenia błyszczącej i rychło zapomnianej jasności salonu, aby zająć miejsce w powozie, gdzie urządziłem się tak, aby się znaleźć z Albertyną, aby Albertyna nie mogła być z innymi bezemnie, a często z innej jeszcze przyczyny, a mianowicie, iż mogliśmy na wiele sobie pozwalać w ciemnym powozie, którego wstrząsy tłumaczyły nas zresztą w razie gdyby nagły promień światła zdradził że jesteśmy spleceni z sobą.

Kiedy p. de Cambremer nie był jeszcze źle z Verdurinami, pytał mnie:

— Nie sądzi pan, że przy tej mgle będzie pan miał napad astmy? Siostra miała dziś rano straszliwą duszność. A! pan także — dodał z zadowoleniem. Powiem to jej dziś jeszcze. Wiem, że za powrotem zaraz się będzie dowiadywała, czy pan dawno już nie miał astmy.

Mówił zresztą o mojej astmie wyłącznie po to, aby dojść do astmy siostry; kazał mi opisywać właściwości mojej astmy jedynie po to, aby lepiej zaznaczyć różnice, zachodzące między jedną a drugą. Ale, mimo tych różnic, ponieważ astma siostry zdawała mu się miarodajna, nie mógł uwierzyć, aby to co pomagało jej nie było wskazane dla mnie, i irytował się, że ja tego nie próbuję. Bo jeszcze trudniejszą rzeczą niż nagiąć się do jakiejś kuracji, jest nie narzucać jej drugim.

— Zresztą co ja mówię, ja profan, kiedy pan tu jest przed areopagiem, u źródła. Co myśli o tem profesor Cottard?

Odwiedziłem zresztą panią de Cambremer innym razem, ponieważ powiedziała komuś, że moja kuzynka ma szczególnie „genre”, chciałem się tedy dowiedzieć, co ona pod tem rozumie. Zapała się, ale w końcu przyznała, że mówiła o innej osobie, którą (tak się jej zdawało) spotkała z moją kuzynką. Nie znała jej nazwiska; powiedziała w końcu, że, jeśli się nie myli, to jest żona bankiera, że się nazywa Lina, Lineta, Lizeta, Lia, słowem coś w tym rodzaju. Miałem wrażenie, że „żonę bankiera” dodała jedynie dla zmylenia śladu. Chciałem spytać Albertyny, czy to prawda. Ale wolałem raczej wyglądać na takiego co wie, niż na takiego co się pyta. Zresztą Albertyna nie byłaby mi odpowiedziała nic, albo wyrzekłaby owo „nie”, w którym „n” byłoby zbyt wahające a „ie” zbyt tryumfalne. Albertyna nie opowiadała nigdy faktów mogących ją „wsypać”, ale inne, dające się wytłumaczyć jedynie tamtemi; *prawda* bowiem to są nietylko jakieś słowa które słyszymy, ile prąd płynący z tych słów i wyczuwalny mimo swej niewidzialności. I tak, kiedy upewniłem Albertynę, że kobieta, którą znała w Vichy, ma podejrzaną *genre*, przysięgała że nie i że nigdy ta kobieta nie próbowała namówić jej na coś złego. Ale innego dnia, kiedy wspomniałem, że byłbym ciekawy tego rodzaju osób, Albertyna dodała, że owa

pani z Vichy ma także przyjaciółkę, której ona, Albertyna, nie zna, ale że owa pani „*przyrzekła* jej, że je z sobą zapozna”. Skoro jej to *przyrzekła*, to znaczy że Albertyna musiała tego pragnąć, albo że pani z Vichy, proponując, wiedziała że jej to zrobi przyjemność. Ale gdybym to zarzucił Albertynie, sprawiłbym wrażenie, że czerpię swoje rewelacje tylko od niej, zahamowałbym je natychmiast, nie dowiedziałbym się już nic, przestałbym być niebezpieczny. Zresztą byliśmy w Balbec, pani z Vichy i jej przyjaciółka mieszkały w Mentonie; oddalenie, brak niebezpieczeństwa rychło zniweczyły moje podejrzenia.

Często, kiedy pan de Cambremer wołał mnie z peronu, korzystałem właśnie z Albertyną z ciemności, nie bez trudu zresztą, bo Albertyna broniła się trochę, bojąc się że ciemność nie jest dość głęboka.

— Wiesz, jestem pewna, że Cottard nas widział; zresztą nawet nie widząc, słyszał nasz zduszony głos i to właśnie w chwili, gdy była mowa o twojej duszności innego rodzaju — mówiła Albertyna, dojeżdżając na stację w Douville, gdzie siadaliśmy do kolejki wracając. Ale ów powrót — tak samo jak jazda w tamtą stronę — o ile, dając mi wrażenie poezji, budził we mnie żądze podróży, nowego życia i tem samem odwracał mnie od wszelkich projektów małżeństwa z Albertyną a nawet podsuwał mi myśl ostatecznego zerwania naszych stosunków, czynił również — właśnie z przyczyny sprzecznej natury tych stosunków — owo zerwanie czemś łatwiejszem. Bo w czasie powrotu, równie dobrze jak w tamtą stronę, na każdej stacji wsiadali lub witali się z nami na peronie znajomi; nad ulotnemi rozkoszami wyobraźni dominowały te ciągle przyjemności towarzyskie, tak kojące, tak usypiające. Już przed samemi stacjami, nazwy ich (które tyle wzniecały we mnie marzeń od chwili gdy je usłyszał owego pierwszego wieczora kiedym przybył z babką) obłaskawiły się, utraciły swoją osobliwość w dni gdy Brichot, na prośbę Albertyny, wytłumaczył nam dokładnie ich etymologie. Uroczy wydał mi się ów „kwiat” — *fleur* — który kończył niektóre nazwiska, jak Fiquefleur, Honfleur, Flers, Bartfleur, Hartfleur, etc., a zabawny „wół” *boeuf* — znajdujący się w zakończeniu *Bricqueboeuf*. Ale *kwiat* zniknął, a także i *wół*, odkąd Brichot (a powiedział to już pierwszego dnia w pociągu) pouczył nas że *fleur* znaczy port (jak fiord), a *boeuf* — normandzkie *budb* — chatę. Ponieważ profesor zacytował mi kilka przykładów, to co mi się wprzód zdało poszczególnie, uogólniało się; Bricqueboeuf spotykało się z Elboeuf, i nawet w nazwie napozór równie indywidualnej jak miejscowość (np. nazwa Pennedepie), gdzie osobliwości najmniej podobne do racjonalnego wytłumaczenia zdawały się stopione od niepamiętnych czasów w wyraz pospolity, soczysty i stwardniały naksztalt normandzkiego sera, z rozpaczą odnalazłem gallickie *pen*, oznaczające górę i znajdujące się równie dobrze w Pennemarc jak w Apeninach.

Ponieważ za każdym przystankiem czułem, że czekają nas przyjacielskie uściski rąk (o ile nie wizyty), powiadałem do Albertyny:

— Pytaj prędko Brichota o nazwy, które chciałaś wiedzieć. Wspominałaś o Marcouville l’Orgueilleuse.

— Tak, bardzo lubię tę dumę, to jest harde miasteczko.

— Wydałoby się pani — odparł Brichot — jeszcze bardziej harde, gdyby, zamiast się sfrancuzić, lub nawet zlatynizować (w cartularium biskupa z Mayeux znajduje się *Marcouvilla superba*), objawiło się pani pod dawniejszą formą, bliższą normandzkiego *Marculplinvilla superba*, wioska, dziedzina Mareulfa. Prawie we wszystkich tych nazwach, które się kończą na *ville*, mogłaby pani ujrzeć wylaniające się jeszcze na tym wybrzeżu widmo twardych normandzkich najeźdźców. W Harembouville widziała pani przed drzwiczkami wagonu jedynie zacnego doktora, który z pewnością nie ma nic z normandzkiego wodza. Ale zamknąwszy oczy, mogłaby pani ujrzeć znamienitego Herimunda (*Herimundivilla*). Mimo iż nie wiem czemu się chodzi temi drogami ciągniętymi się pomiędzy Loigny a Balbec-Plage, nie zaś bardzo malowniczymi drózkami, które wiodą od Loigny do starego Balbec. Pani Verdurin musiała was tam może obwozić. Wówczas widzieliście Incarville, czyli wioskę Wiskara, i Tourville — przed dojazdem do pani Verdurin — to znaczy wioskę Turola. Zresztą byli to nie tylko Normandowie. Zdaje się, że Niemcy zaszli aż dotąd (*Aumenancourt, Alemanicurtis*) — nie mówmy tego młodemu oficerowi, którego widzę: gotów byłby nie chcieć już odwiedzić swoich kuzynów. Byli i Saksończycy, jak o tem świadczy źródło Sissonne (jeden z ulubionych spacerów pani Verdurin, i słusznie), równie dobrze jak w Anglii Middlesex, Wessex. Rzecz niewytłumaczona, zdaje się, że

Goci, dziady (*gueux*) jak powiadano, przyszedli aż tutaj, i nawet Maurowie, bo Mortagne pochodzi od *Mauretania*. Ślad tego pozostał w Gourville — *Gothorunvilla*. Jakiś ślad Latynów istnieje zresztą także, Lagny (*Latiniacum*).

— Ja poproszę o wytłumaczenie Thorpehomme — rzekł p. de Charlus. — Rozumiem *homme* (dodał podczas gdy rzeźbiarz i Cottard wymieniali porozumiewawcze spojrzenie). Ale Thorp?

— *Homme* nie znaczy bynajmniej tego co pan jesteś skłonny przypuszczać, baronie — odparł Brichot, patrząc chytrze na Cottarda i na rzeźbiarza. *Homme* nie ma nic wspólnego z płcią, której nie zawdzięczam matki. *Homme* to jest *Holm*, które oznacza wysepkę, etc... Co do *Thorp*, czyli wieś, odnajdzie się ją w stu słowach, którymi już nudziłem naszego młodego przyjaciela. Toteż w Thorpehomme nie ma imienia wodza normadzkiego, ale są słowa z normadzkiego języka. Widział pan, jak ten cały kraj był zgermanizowany.

— Ja sądzę, że profesor przesadza — rzekł p. de Charlus. — Byłem wczoraj w Orgeville.

— Tym razem zwracam panu *mężczyznę*, którego panu odebrałem w Thorpehomme, baronie. Stwierdzimy bez pedantyzmu, że akt Roberta I mówi nam zamiast Orgeville o *Otgervilla*, dziedzina Otgera. Wszystkie te nazwy, to są imiona dawnych panów. *Octeville la Venelle* powstało z Avenel. Avenelowie byli rodziną znaną w średniowieczu. Bourguenolles, dokąd pani Verdurin zawiozła nas kiedyś, pisało się *Bourg de môles*, bo ta wieś należała w XI wieku do Baldwina de Môles, zarówno jak la Chaise-Baudoin. Ale oto jesteśmy w Doncières.

— Mój Boże, ilu oficerów będzie się pchało do wagonu — rzekł p. de Charlus z udanym przerażeniem. — Mówię to za was; mnie to nie przeszkadza, skoro tu wysiadam.

— Słyszysz pan, doktorze — rzekł Brichot. — Baron się boi, aby mu oficerowie nie przeszli po brzuchu. A przecie oni są w swojej roli, znajdując się tutaj w gromadzie, bo Doncières to jest ściśle Saint-Cyr, Dominus Cyriacus. W wielu nazwach Sanctus i Sancta zastąpione są przez *dominus* i *domina*. Zresztą to spokojne i wojskowe miasteczko ma czasami fałszywe pozory Saint-Cyr, Wersalu, a nawet Fontainebleau.

W czasie tych powrotów (jak i w czasie jazdy w tamtą stronę) mówiłem Albertynie żeby się ubrała, bo wiedziałem, że w Amnancourt, w Doncières, w Épreville, w Saint-Vast, czekają nas krótkie wizyty. Nie były mi one zresztą niemiłe, np. w Hermenonville (dziedzina Herimunda) wizyta pana de Chevregny, korzystającego z tego że wyszedł po swoich gości, aby mnie zaprosić na jutro na śniadanie do Montsurvent; albo w Doncières nagle wtargnięcie któregoś z uroczych przyjaciół Roberta, przysłanych przez niego (kiedy nie był wolny) aby mi doręczyć zaproszenie kapitana de Borodino, menaży oficerów z pod Cocq-Hardi, lub podoficerów z pod Złotego Bażanta. Saint-Loup zjawiał się często sam; wówczas przez cały czas jego obecności — ale tak że nikt nie mógł tego spostrzec — trzymałem Albertynę na uwięzi mego spojrzenia, daremnie czujnego zresztą. Raz wszakże przerwałem swoją straż. W czasie dłuższego postoju, Bloch, ukłoniwszy się nam, uciekł prawie natychmiast, spiesząc do ojca, który wziął właśnie spadek po wuju i który, wynajawszy zamek zwący się *la Commanderie*, uważał za bardziej pańskie jeździć tylko karetką pocztową z pocztylionami w liberji. Bloch prosił, żebym go odprowadził do powozu. „Ale spiesz się, bo moje bieguny są niecierpliwe; pójdź mężu miły bogom, sprawisz radość memu ojcu.” Ale zbyt ciężko było mi zostawić Albertynę z Robertem; gdybym ich nie miał na oku, mogliby rozmawiać, przejść do innego wagonu, uśmiechać się do siebie, dotykać się; spojrzenie moje, przyklepione do Albertyny, nie mogło się od niej oderwać, dopóki Saint-Loup był przy niej. Spostrzegłem łatwo, że Bloch, który mnie prosił żebym się przywitał z jego ojcem, odczuł jako obojętność z mojej strony fakt że mu odmówił, mimo że nie miałem żadnej przeszkody, bo wiadomo było, że pociąg będzie stał jeszcze conajmniej kwadrans i że prawie wszyscy podróżni, bez których nie odjechałby, wysiedli. Bloch był przekonany, że powodem mojej odmowy był snobizm i postępowanie moje w tej sprawie starczyło mu za odpowiedź. Bo wiedział dobrze, z kim jestem w wagonie. W istocie, p. de Charlus (pragnąc się zbliżyć do Blocha) powiedział mi nieco przedtem, nie pamiętając, ani się troszcząc o to, że to już zrobił niegdyś: „Niechże mi pan przedstawi swojego przyjaciela; pańskie zachowanie się świadczy o braku szacun-



ku dla mnie”, i rozmawiał z Blochem, który wyraźnie mu się bardzo podobał, do tego stopnia że mu powiedział na rozstanie: „Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.”

— Zatem to nieodwołalne, nie chcesz zrobić tych stu kroków, aby się przywitać z ojcem, któremu by to sprawiło taką przyjemność? — rzekł Bloch.

Byłem w rozpacz: wyglądało na to, że zdradzam koleżeństwo; bardziej jeszcze gnębiła mnie myśl o przyczynie, którą Bloch sobie to tłumaczy, wyobrażając sobie, że ja, będąc w arystokratycznym towarzystwie, zmieniam się dla skromniejszych przyjaciół. Od tego dnia, objawy jego przyjaźni osłabły i co mi było przykrzejsze, zmniejszył się jego szacunek dla mego charakteru. Ale, aby wywieść Blocha z błędu co do mojej pobudki, musiałbym mu wyznać coś — mianowicie że jestem zazdrosny o Albertynę — co by mi było jeszcze bolesniejsze, niż zostawić go w przeświadczeniu o moim snobizmie. Tak oto, teoretycznie, człowiek uważa, że zawsze się powinno stawiać sytuację szczerze, unikać nieporozumień. Ale często życie kombinuje owe nieporozumienia w taki sposób, że, aby je rozprószyć — w rzadkich okolicznościach gdy to jest możliwe — trzeba by wyjawiać coś — tutaj nie było tego wypadku — co bardziej jeszcze uraziłoby przyjaciela niż nasza urojona wina, albo zdradzić sekret, którego wyjście na jaw wydaje się nam jeszcze czemś gorszym niż nieporozumienie. Znajdowałem się właśnie w tem położeniu. Zresztą, nawet nie tłumacząc Blochowi (skorom nie mógł tego uczynić) powodów, dla których go nie odprowadzam, gdybym go prosił aby się nie gniewał, zdwoiłbym jedynie jego urazę, okazując że ją spostrzegam. Nie pozostawało nic, jak tylko skłonić się przed tem fatum, które chciało, aby obecność Albertyny przeszkodziła mi odprowadzić Blocha i aby Bloch myślał, że powodem była świetność towarzystwa, które, choćby było sto razy świetniejsze, miałyby jedynie ten skutek, że byłbym się wyłącznie zajął Blochem i rozwinął dlań całą uprzejmość. Wystarczy w ten sposób, aby przygodnie, idjotycznie, przypadek (tutaj obecność Albertyny i Roberta) wszedł między dwa losy, których linje skłaniały się ku sobie, aby te linje rozeszły się, oddalając się coraz więcej i nie mając się już zbliżyć nigdy. I bywały przyjaźnie piękniejsze niż moja z Blochem, które uległy w ten sposób zniweczeniu, przyczem mimowolny autor nieporozumienia nigdy nie mógł wyjaśnić urażonemu tego, co byłoby prawdopodobnie ukoilo jego miłość własną i odzyskało sympatię.

Przyjaźnie piękniejsze od przyjaźni Blocha to by zresztą nie wiele mówiło. Bloch miał wszystkie wady, które mnie najbardziej raziły. Czułość moja dla Albertyny czyniła je przypadkowo czemś nie do zniesienia. I tak, w tej krótkiej chwili, kiedy, pilnując z pod oka Roberta, rozmawiałem z Blochem, Bloch oznajmił, że był na śniadaniu u pani Bontemps, gdzie wszyscy mówili o mnie z największymi pochwałami aż do „schyłku Heliosa”. Brawo! pomyślałem sobie; ponieważ pani Bontemps uważa Blocha za geniusza, entuzjastyczny sąd, jaki musiał o mnie wyrazić, więcej zaważy niż to co mogli mówić wszyscy inni; to dojdzie do Albertyny. Dziś czy jutro musi się o tem dowiedzieć, dziwi mnie tylko, że już ciotka nie powtórzyła Albertynie iż jestem człowiekiem „niepospolitym”.

— Tak — dodał Bloch — wszyscy piali twoje pochwały. Ja jeden zachowałem milczenie równie głębokie co gdybym w miejsce biesiady, zresztą dość miernej, jaką nas raczono, spożył mak, drogi błogosławionemu bratu Tanathosa i Lety, boskiemu Hypnosowi, który spowija słodkimi więzami ciało i język. Nie iżbym cię podziwiał mniej niż banda drapieżnych sów, z którymi mnie zaproszono. Ale ja cię podziwiam dlatego że cię rozumiem, a oni cię podziwiają nie rozumiejąc. Aby dobrze rzec, ja cię zanadto podziwiam aby mówić o tobie publicznie; wydawałoby mi się profanacją chwalić głośno to, co noszę w najgłębszym zakątku serca. Daremnie pytano mnie o ciebie; święta Wstydlivość, córa Kroniona, kazała mi zostać niemym.

Nie byłem na tyle nietaktowny, aby okazać niezadowolenie, ale ta Wstydlivość wydała mi się spokrewniona — o wiele bardziej niż z Kronionem — ze wstydlivością, która nie pozwala podziwiającemu cię krytykowi mówić o tobie, dlatego że do sekretnej świątyni, gdzie królujesz, wtargnęłaby w ten sposób horda ciemnych czytelników i dziennikarzy; ze wstydlivością ministra, który nie daje ci krzyża Legji, aby cię nie zmieszać z ludźmi, którzy ci do pięt nie dorastają; ze wstydlivością Akademika, który nie głośuje za tobą, aby ci oszczędzić hańby kolegowania z panem X, człowiekiem pozbawionym talentu; z czcigodniejszą wreszcie, a jednak bardziej zbrodniczą wstydlivością owych synów, którzy nie pozwalają nam pisać o ich ojcu, człowieku pełnym zalet, aby zapewnić mu ciszę i spokój, nie dać aby wskrzeszano życie i tworzono sławę dokoła biednego zmar-

tego, który rozgłos swego imienia w ustach ludzi wołałby od wieńców, bardzo nabożnie zresztą noszonych na jego grób.

O ile Bloch, zasmuciwszy mnie tem że nie mógł zrozumieć racji, broniącej mi przywiatać się z jego ojcem, przywiódł mnie do rozpaczki wyznając że mnie zdyskredytował u pani Bontemps (rozumiałem teraz, czemu Albertyna nigdy nie wspominała o tem śniadaniu i zachowała milczenie, kiedy mówił o przywiązaniu Blocha), ów młody izraelita wzbudził w panu de Charlus uczucia zgoła inne.

Z pewnością Bloch wierzył teraz że ja nietylko nie mogę rozstać się ani na sekundę z ludźmi z wielkiego świata, ale że, zawistny o awanse jakie mogliby mu robić (jak p. de Charlus), staram się mu podstawić nogę i przeszkodzić w nawiązaniu stosunków. Pan de Charlus znowuż żałował, że nie mógł dłużej mówić z moim kolegą. Wedle swego zwyczaju, strzegł się to okazać. Zaczął od tego, że mi zadał od niechcienia parę pytań dotyczących Blocha, ale tak niedbale, z zainteresowaniem niby tak sztucznym, że nie przypuszczałyby się iż może słyszeć odpowiedzi. Zdawkowym tonem wyrażającym obojętne roztargnienie, rzekł jakby przez prostą grzeczność:

— Wygląda inteligentnie; mówił mi że pisze, czy ma talent?

Oświadczyłem baronowi, że bardzo uprzejmie z jego strony było powiedzieć Blochowi, że się go spodziewa spotkać. Żaden ruch nie zdradził aby baron usłyszał moje słowa; że zaś powtórzyłem je cztery razy bez odpowiedzi, zacząłem podejrzewać, czy, słysząc wpród słowa pana de Charlus, nie byłem igraszką halucynacji.

— Mieszka w Balbec? — zaintonował śpiewnie baron, z miną tak mało pytającą, że trzeba żałować iż język francuski nie posiada innego znaku niż znak zapytania dla zakończenia tego rodzaju frazy. Prawda, że ów znak nie często przydałby się panu de Charlus.

— Nie, wynajęli niedaleko stąd „Komandorję”.

Dowiedziawszy się tego co chciał wiedzieć, p. de Charlus udał że gardzi Blochem.

— Cóż za ohyda! — wykrzyknął przywracając swemu głosowi cały jego dźwięczny wigor. Wszystkie miejscowości lub posiadłości zwane „Komandorjami” były własnością kawalerów zakonu maltańskiego (do którego należą), jak miejsca zwane *Świątynią* lub *Kawalerją* były siedzibą Templariuszów. Gdybym ja mieszkał w Komandorji, nie byłoby nic naturalniejszego. Ale Żyd! Zresztą, nie dziwi mnie to; to się wiąże z ciekawą pasją świętokradztwa, właściwą tej rasie. Z chwilą gdy Żyd ma dosyć pieniędzy aby sobie kupić zamek, zawsze wybiera taki, który się nazywa Przeorstwo, Opactwo, Monastyr, Dom Boży. Miałem interes do pewnego urzędnika Żyda: zgadnij pan, gdzie on urzędował: w Pont-l'Évêque. Popadłszy w niełaskę, postarał się o przeniesienie do Bretanji, do Pont-l'Abbé. Kiedy się daje w Wielkim Tygodniu owe nieprzystojne widowiska zwane Pasją, połowę sali zapełniają Żydzi, nie posiadają się z radości na myśl że jeszcze raz ukrzyżują Chrystusa, bodaj *in effigie*. Na koncercie Lamoureux siedziałem raz obok bogatego bankiera Żyda. Grano *Dzieciństwo Chrystusa* Berlioza, był przybity. Ale odzyskał niebawem właściwy sobie wyraz błogości, słysząc *Czary Wielkiego Piątku*. Pański nieszczęsny przyjaciel mieszka w Komandorji! Co za sadyzm! Pokaże mi pan drogę — dodał, przybierając znów wyraz obojętności — pójdę którego dnia zobaczyć, jak nasze starożytne siedziby znoszą podobną profanację. To wielka szkoda, bo jest grzeczny, wydaje się inteligentny. Brakowałoby tylko tego, żeby mieszkał w Paryżu przy ulicy du Temple!

Robiło to wrażenie, że p. de Charlus mówi to jedynie poto aby znaleźć nowy przykład na poparcie swojej teorii; ale w istocie zadawał mi pytanie obosieczne, którego głównym celem było wywiedzieć się o adres Blocha.

— W istocie — zauważył Brichot — ulica du Temple nazywała się dawniej ulicą *de la Chevalerie du Temple*. I w tym przedmiocie czy pozwoli mi pan zrobić jedną uwagę, baronie? — rzekł Akademik.

— He? Co takiego? — rzekł sucho baron, któremu ta uwaga przeszkodziła w uzyskaniu informacji.

— Nie, nic — odparł Brichot spłoszony. — To *à propos* pewnej etymologii, o którą mnie proszono. Ulica du Temple nazywała się niegdyś ulicą Barre-du-Bac, ponieważ Abbaye du-Bac w Normandji miała w Paryżu swoją *barre de justice*.

P. de Charlus nie odpowiedział i udał że nie słyszy, co było u niego jedną z form impertynencji.

— Gdzie mieszka pański przyjaciel w Paryżu? Ponieważ trzy czwarte ulic bierze swoje nazwy od jakiegoś kościoła lub opactwa, są wszelkie widoki nowego świętokradztwa. Nie można Żydom zakazać mieszkać przy boulevard de la Madeleine, w faubourg Saint-Honoré lub na place Saint-Augustin. Dopóki nie posuwają swojej perfidji do tego aby się starać mieszkać na placu du Parvis Notre-Dame, na quai de l'Archevêché, przy ulicy Kanoniczek, albo de l'Ave-Maria, trzeba uwzględnić trudności jakie mają z wyborem.

Nie mogliśmy objaśnić pana de Charlus, nie znając obecnego adresu Blocha. Ale wiedziałem, że biura jego ojca znajdują się przy ulicy des Blancs-Manteaux.

— Och! cóż za szczyt przewrotności — wykrzyknął p. de Charlus, najwyraźniej znajdując w tym wykrzyku ironicznego oburzenia głęboką satysfakcję. — Blancs-Manteaux! — powtórzył, kładąc nacisk na każdej sylabie i śmiejąc się. — Co za świętokradztwo! Pomyślcie, że te białe płaszcze, splugawione przez pana Bloch, to były płaszcze braci żebrzących, zwanych służkami Najświętszej Panny, których osadził tam święty Ludwik! I ulica zawsze należała do zakonów. Profanacja jest o tyle bardziej djaboliczna, że o dwa kroki od ulicy des Blancs-Manteaux znajduje się ulica której nazwisko mi uciekło i która jest całkowicie wydana Żydom; są tam hebrajskie szyldy, fabryki macy, rzeźnie rytualne, to istna paryska Judengasse. Tam powinienby mieszkać pan Bloch. Oczywiście — dodał tonem dość emfaticznym i wyniosłym, dając zarazem mimowoli, mocą dziedziczości, swojej hardo odrzuconej twarzy minę starego muszkietera Louis XIII — biorę to wyłącznie z artystycznego punktu widzenia. Polityka, to nie mój wydział, i nie mogę potępiać *en bloc* (skoro mówimy o panu Bloch) narodu posiadającego Spinozę wśród swoich znakomitych synów. I zanadto podziwiam Rembrandta, aby nie rozumieć piękności, jakie można zaczerpnąć z synagogi. Ale ostatecznie, ghetto jest tem piękniejsze, im bardziej jednolite i doskonale. Bądź pan pewien zresztą — tak dalece zmysł praktyczny i chciwość mieszają się u tego ludu z sadyzmem — że bliskość ulicy hebrajskiej, o której wspomniałem, wygoda posiadania pod ręką rzeźni Izraela, kazały pańskiemu przyjacielowi wybrać ulicę des Blancs-Manteaux. Jakie to ciekawe! Tam zresztą mieszkał ów dziwny żyd, który kazał gotować hostje, w następstwie czego, jak sądzę, ugotowano jego samego, co jest jeszcze dziwniejsze, skoro to miałyby znaczyć, iż ciało Żyda może być warte tyle co ciało Boże. Może dałoby się ułożyć z pańskim przyjacielem, żeby nam pokazał kościół des Blancs-Manteaux. Pomyśl pan, to tam złożono ciało Ludwika Orleańskiego zamordowanego przez Jana bez Trwogi, który nieszczęściem nie uwolnił nas od Orleanów. Jestem zresztą osobiście bardzo dobrze z moim kuzynem, księciem de Chartres, ale ostatecznie to rasa uzurpatorów, która uśmierciła Ludwika XVI, wyzuła Karola X i Henryka V. Mają to zresztą we krwi, posiadając wśród przodków owego *Monsieur* (którego tak nazywano zapewne dlatego, że był najbardziej zdumiewającą starszą damą), i Regenta i innych. Co za rodzina!

Tę rozprawę antyżydowską czy prohebrajską — wedle tego, czy się weźmie powierzchowny charakter zdań czy intencje w nich ukryte — przecięło, komicznie dla mnie, coś co mi szepnął Morel a co przywiodło do rozpaczony pana de Charlus. Morel który spostrzegł niewątpliwie wrażenie jakie wywarł Bloch, podziękował mi pocichu za to że m go „spławił”, dodając cynicznie:

— Byłby chętnie został tutaj, wszystko to jest zawiść, chciałby mi zabrać moje miejsce. To wygląda na parcha!

— Możliwe skorzystać z tego postoj, który się przeciąga, aby poprosić pańskiego przyjaciela o jakieś rytualne wyjaśnienia. Czy nie mógłby go pan złapać — spytał p. de Charlus z nerwową niepewnością.

— Nie, to niemożliwe, odjechał powozem, zresztą obraził się na mnie.

— Dziękuję, dziękuję — szepnął mi Morel.

— Idjotyczny argument, zawsze można dogonić powóz, nic by panu nie przeszkodziło wziąć auto — odparł p. de Charlus, jak człowiek przyzwyczajony że wszystko się skłania przed jego ochotą. Zauważywszy moje milczenie, rzeki impertynencko z ostatnią nadzieją:

— Cóż to za powóz mniej lub więcej urojony?

— To karetka pocztowa, która już musiała zajechać do Komandorji.

Wobec jawnej niemożliwości, p. de Charlus, zrezygnowany, obrócił rzeczy w żart i dodał: — Trudno w istocie normalnemu człowiekowi dogonić obrzezańca, lżejszy jest.

Wreszcie oznajmiono, że pociąg rusza, zaczem Saint-Loup pożegnał nas. Ale to był jedyny dzień, w którym, wsiadając do naszego wagonu, zadał mi bezwiednie ból, a to wskutek myśli, jaką miałem przez chwilę, aby go zostawić z Albertyną i odprowadzić Blocha. W inne dni, obecność Roberta nie dręczyła mnie. Bo Albertyna, aby mi oszczędzić wszelkiego niepokoju, sama z siebie siadała pod jakimś pozorem tak, że nawet mimowoli nie mogła się otrzeć o Roberta, prawie za daleko aby móc mu bodaj podać rękę; z chwilą gdy Robert był obecny, odwracała oczy i zaczynała ostentacyjnie i gorączkowo rozmawiać z kim innym, przeciągając tę grę aż do odejścia Roberta. W ten sposób, spotkania w Doncières nie sprawiały mi żadnego bólu, nawet zakłopotania, nie były wyjątkiem wśród innych, zawsze dla mnie przyjemnych, przynoszących mi poniekąd hold i zaproszenie od tej ziemi.

Już z końcem lata, w czasie naszych wypraw z Balbec do Douville, kiedy widział zdaleka tę stację Saint-Pierre des Ifs, gdzie wieczorem przez chwilę grzebień skał błyszczał różowo niby w zachodzącym słońcu śnieg górski, nie nasuwała mi już ona myśli nie mówię nawet o smutku, o jaki zjawisko jej nagłego dziwnego wzniesienia się przypawiło mnie pierwszego wieczora, budząc gwałtowną ochotę wskoczenia do pociągu do Paryża zamiast jechać do Balbec, ani o widoku, jaki rano można mieć stamtąd (jak powiadał Elstir) tuż przed wschodem słońca, kiedy wszystkie kolory tęczy łamią się na skałach; tam właśnie tyle razy Elstir budził młodego chłopca, służącego mu jednego roku za modela, aby go malować całkiem nagiego na piasku. Nazwa Saint-Pierre des Ifs oznajmiała mi tylko że zjawi się osobliwy pięćdziesięciolatek, inteligentny i uszmkowany, z którym będę mógł mówić o Chateaubriandzie i o Balzaku. I teraz, w mgłach wieczornych, za temi skałami Incarville, które mnie tak rozmarzyły niegdyś, widziałem — tak jak gdyby starożytny kamień skał stał się przezroczyty — piękny dom wuja pana de Cambremer, z tą pewnością że zawsze mnie tam chętnie przyjmą, o ile nie zechcę być na obiedzie w la Raspelière lub wracać do Balbec.

Tak więc, nie tylko nazwy miejsc w tych stronach straciły pierwotną tajemnicę, ale same miejsca. Nazwy, już nawpół opróżnione z tajemnicy, którą etymologia zastąpiła rozumowaniem, jeszcze spadły o jeden szczebel. W ciągu naszego powrotu, w Hermonville, w Saint-Vast, w Arambouville, w chwili gdy pociąg się zatrzymywał, spostrzegaliśmy cienie, których nie poznawaliśmy zrazu i które Brichot, nie widzący już nic, mógłby wziąć w nocy za cienie Herimunda, Wiskara, Herimbalda. Ale one zbliżyły się do wagonu. To poprostu p. de Cambremer, całkiem poróżniony z Verdurinami, odprowadzał gości i imieniem matki i żony pytał mnie, czy nie dałbym się „porwać” aby zabawić kilka dni w Féterne: spodziewają się tam kolejno wybornej amatorki, która mi odśpiewa całego Glucka, oraz sławnego szachisty, z którym będę mógł sobie uciąć doskonałe partyjki, co nie przeszkodzi wyprawom z wędką ani jachtingom w zatoce, ani nawet obiadom u Verdurinów, na które margrabia zobowiązywał się honorem „wypożyczać mnie”, każąc mnie tam odwiedzić i posyłając po mnie dla większej wygody, a także pewności.

— Ale ja nie mogę uwierzyć — mówił — aby to było dobrze dla pana jechać tak wysoko. Wiem, że siostra nie zniosłaby tego. Wróciłaby w strasznym stanie! Nie tęgo zresztą miewa się w tej chwili. Doprawdy, miał pan taki silny atak! Jutro nie będzie się pan mógł utrzymać na nogach!

I pękał ze śmiechu nie przez złośliwość, ale z tej samej racji, dla której nie mógł bez śmiechu widzieć na ulicy przewracającego się kulasa lub rozmawiać z głuchym.

— A przedtem? Jakto, nie miał pan ataku od dwóch tygodni? Wie pan, że to bardzo piękne. Doprawdy, powinienby pan zamieszkać w Féterne, rozmawiałby pan o swojej astmie z siostrą.

W Incarville zjawiał się margrabia de Montpeyroux, który, nie mogąc się wybrać do Féterne, bo miał polowanie, przybył „na pociąg” w butach i w kapeluszu z bażanciem piórem, aby ucisnąć rękę odjeżdżających i mnie za jedną okazją, oznajmiając wizytę swego syna w dniu który mi będzie dogodny; dziękował z góry że go przyjmę i byłby bardzo wdzięczny, gdybym go zachęcił trochę do czytania. Lub pan de Crécy, zaszedłszy tu „dla konkokcji”, jak powiadał, paląc fajkę, przyjmując odemnie cygaro lub nawet kilka, mówił:

— No i co, nie naznacza mi pan dnia na naszą następną lukullusową randkę? Nie mamy sobie nic do powiedzenia? Pozwoli pan sobie przypomnieć, żeśmy zostawili na tapecie sprawę dwóch rodzin Montgommery. Musimy dokończyć. Liczę na pana.

Inni przyszli tylko kupić dzienniki. Wielu ucinano z nami gawędę; zawsze podejrzewałem ich, że znaleźli się na najbliższej od ich dworu stacji jedynie dlatego, że nie mieli do roboty nic innego jak tylko spotkać na chwilę znajomych. Owe postoje kolejki, to rama życia światowego, w sumie tak dobra jak każda inna. Sama kolejka zdawała się mieć świadomość roli, jaka jej przypadła; nabrała jakiejś ludzkiej uprzejmości; cierpliwa, łagodna z natury, czekała ile się chciało na zapóźnionych, a nawet ruszywszy już, zatrzymywała się aby zabrać tych co jej dawali znak; biegli za nią sapiąc, w czym byli do niej podobni; ale różnili się od niej tem, że łapali ją całym pędem, gdy ona ograniczała się do roztropnej powolności.

Tak więc, Hermonville, Arambouville, Incarville, nie wskrzeszały mi już nawet okrutnych wielkości normandzkiego podboju, nie poprzestając na tem że się całkowicie wyzuły z niewytłumaczonego smutku, w jakim kąpały się dla mnie niegdyś w wilgoci wieczoru.

Doncières! Nawet kiedy je poznałem i obudziłem się z marzenia, ileż w tej nazwie zostało dla mnie — na długo — ulic przyjemnie lodowatych, jasnych witryn, soczystych sztuk drobiu. Doncières! Teraz, to już była tylko stacja, gdzie wsiadał Morel; Egleville (*Aquilaevilla*) — stacja, gdzie czekała na nas najczęściej księżna Szerbatow; Maineville — stacja, gdzie wysiadała Albertyna w pogodne wieczory, kiedy, nie zbyt zmęczona, miała ochotę przedłużyć jeszcze chwile ze mną, nie mając ścieżką o wiele dalej pieszo, niż gdyby wysiadła w Parville (*Paterni villa*). Nie tylko nie doznawałem już trwożliwego lęku osamotnienia, jaki mnie dławił pierwszego wieczora, ale nie potrzebowałem się już obawiać aby ten lęk się zbudził, ani też abym mógł się czuć obco lub samotnie na tej ziemi, rodzajnej nietylko w kasztany i tamaryski, ale w przyjaźnie, które wzdłuż tej drogi tworzyły długi łańcuch, przerywany jak łańcuch sinych pagórków, ukrytych niekiedy w załomie skały lub za lipami aleji; ale na każdym postoju delegowały uprzejmego ziemianina gotowego serdecznym uściskiem dłoni przerwać moją drogę, nie dać mi odczuć jej długości, ofiarować się w potrzebie za towarzysza. Inny znalazłby się na następnym dworcu, tak że jeżeli gwizd kolejki dawał sygnał rozstania się z przyjacielem, to jedynie po to aby pozwolić spotkać innych. Między najmniej bliskimi dworami a lokalną kolejką, która biegła wzdłuż nich niemal krokiem szybko idącej osoby, odległość była tak mała, że w chwili gdy na peronie, przed poczekalnią, wołali nas ich właściciele, mieliśmy prawie wrażenie, że robią to z progu swego domu, z okna, tak jakby kolejka departamentalna była jedynie prowincjonalną ulicą a oddzielnie stojący dworek miejskim pałacykiem; nawet na rzadkich stacjach, gdzie nie słyszałem niczyjego „dobrywieczór”, milczenie miało kojącą i odżywczą pełnię, bo wiedziałem, że powstało ze snu przyjaciół, kładących się wcześniej w pobliskim dworze, gdzie powitanoby mnie z radością, gdybym ich obudził prosząc o gościnę. Nie mówiąc iż przyzwyczajenie tak wypełnia czas, że po upływie kilku miesięcy nie mamy ani jednej chwili wolnej w miejscu, gdzie w chwili przyjazdu dzień nastęrczał nam dwanaście godzin do zabicia; i gdyby przypadkiem jedna z tych godzin zawakowała, nie przyszłoby mi już na myśl obracać jej na oglądanie jakiegoś kościoła, dla którego niegdyś przybyłem do Balbec, ani nawet na konfrontowanie pejzażu Elstira ze szkicem widzianym u niego; wybrałbym się poprostu na jeszcze jedną partję szachów do pana Féré. Była w tem w istocie jakaś abdykacja z czaru, jaki miały niegdyś dla mnie okolice Balbec, w tem że stały się one dla mnie „swoją” krainą; ich rozległość, rozmaitość i rozmieszczenie wzdłuż brzegu dawały z konieczności wizytom moim u tych różnych znajomych charakter podróży, sprowadzały również podróż jedynie do towarzyskiego wdzięku szeregu wizyt. Te same nazwy miejsc, niegdyś dla mnie tak niepokojące, że prosty *Almanach zamków i dworów*, rozdział: *Departament la Manche*, przyprowadzał mnie o tyle wzruszeń co kolejowy rozkład jazdy, stały mi się tak poufałe, że nawet ten rozkład jazdy mógłbym oglądać na stronicy *Balbec-Douville przez Doncières* z tem samem spokojnem szczęściem co książkę adresową. W tej nazbyt towarzyskiej dolinie, z której zбочy czułem wychylającą się — widzialną lub nie — gromadę licznych znajomych, poetycznym krzykiem wieczornym był już nie krzyk sowy albo rechot żab, ale „jak się pan ma!” pana de Criquetot, albo „*Kaire*” Brichota. Atmosfera tamtejsza nie budziła już niepokoju; naładowana czysto ludzkimi fluidami była łatwa do oddychania, zbyt kojąca nawet. Korzyść, jaką z niej wyciągałem, była bodaj ta, że widział rzeczy już tylko z punktu praktycznego. Małżeństwo z Albertyną zdawało mi się szaleństwem.

## ROZDZIAŁ IV

*Nagły zwrot ku Albertynie. — Rozpacz o wschodzie słońca. — Jadę bezzwłocznie z Albertyną do Paryża.*

Czekałem tylko sposobności ostatecznego zerwania. I pewnego wieczora, kiedy mama jechała nazajutrz do Combray, gdzie miała czuwać przy umierającej siostrze babki, zostawiając mnie, abym korzystał, jakby tego pragnęła babka, z morskiego powietrza, oznajmiłem nieodwołalnie, że jestem zdecydowany nie żenić się z Albertyną i że nie długo przestanę się z nią widywać. Byłem rad, że mogłem temi słowami ucieszyć mamę w wilgę wyjazdu. Nie tała, że ją to w istocie bardzo cieszy.

Trzeba było także rozmówić się z Albertyną. Kiedym z nią wracał z la Raspelière, a wierni wysiedli, jedni w Saint-Mars-le-Vêtu, inni w Saint-Pierre-des-Ifs, inni w Doncières, czując się niezwykle szczęśliwym i wyzwolonym od niej, zdecydowałem się teraz, kiedy byliśmy w wagonie tylko we dwoje, podjąć wreszcie tę rozmowę. Faktem zresztą jest, że wśród dziewcząt z Balbec, tą, którą kochałem, nieobecna w tej chwili jak jej przyjaciółki, ale mająca wrócić, była Anna; pozatem lubiłem je wszystkie, bo każda miała dla mnie, jak pierwszego dnia, coś z duszy innych, była jakby z odrębnej rasy. Za kilka dni Anna miała znów przyjechać do Balbec, z pewnością przyjdzie zaraz do mnie. Wówczas, aby zachować wolność, nie ożenić się z nią jeśli nie zechcę, aby móc pojechać do Wenecji, ale jednak mieć tutaj Annę całą dla siebie, obmyśliłem sobie, że nie okażę zbyt żem do niej tęsknił; tuż po jej przybyciu, kiedy będziemy rozmawiali, powiem: „Co za szkoda, że cię nie było kilka tygodni wcześniej. Byłbym cię pokochał, teraz serce moje jest zajęte. Ale to nic nie znaczy, będziemy się widywali często, bo jestem smutny, będziesz mnie pocieszała po tamtej miłości.” Uśmiechałem się w duchu, myśląc o tej rozmowie, bo w ten sposób wmówiłbym Annie że jej nie kocham naprawdę; tem samem nie sprzykrzę się jej i będę radośnie i słodko korzystał z jej czułości. Ale wszystko to zwiększało jedynie konieczność rozmówienia się wreszcie serjo z Albertyną, jak tego wymagała delikatność; skoro zaś byłem zdecydowany poświęcić się jej przyjaciółce, trzebaż aby Albertyna wiedziała, że jej nie kocham. Trzeba to jej powiedzieć zaraz, skoro Anna może przybyć lada dzień. Ale kiedyśmy się zbliżali do Parville, uczulem, że nie będziemy mieli czasu tego wieczora i że lepiej odłożyć do jutra to, co już jest nieodwołalne. Gawędziłem więc pro prostu z Albertyną o obiedzie u Verdurinów, z któregośmy wracali. Kładąc płaszczyk w chwili gdy pociąg opuścił właśnie Incarville, ostatnią stację przed Parville, Albertyna rzekła:

— Zatem jutro Verdurinowie *bis*; nie zapominaj, że to ty po mnie wstępujesz.

Nie mogłem się wstrzymać aby nie odpowiedzieć dość sucho:

— Tak, o ile nie puszczę ich kantem, bo doprawdy zaczyna mi się to życie wydawać idjotyczne. W każdym razie, o ile tam pojedziemy, wówczas, chcąc aby czas w la Raspelière nie był absolutnie stracony, muszę poprosić panią Verdurin o coś, coby mnie bardzo zajęło, coby mi mogło dać temat do studjów i zrobić mi przyjemność, bo mam jej w istocie w tym roku w Balbec bardzo mało.

— Nie jest uprzejme dla mnie to co mówisz, ale nie mam do ciebie żalu, bo czuję że jesteś nerwowy. Co to za przyjemność?

— Żeby pani Verdurin kazała komuś przegrać dla mnie utwory muzyka, którego dzieła zna bardzo dobrze. Ja także znam jeden, ale zdaje się, że są inne; chciałbym wiedzieć, czy to jest wydane, czy to się różni od pierwszych opusów.

— Co za muzyk?

— Kochanie, jeśli ci powiem, że się nazywa Vinteuil, czy dużo ci to mówi?

Możemy się wałęsać po wszystkich możebnych myślach nie napotyając prawdy; przychodzi ona z zewnątrz, kiedy się tego najmniej spodziewamy, aby nam zadać swoje okropne pchnięcie i zranić nas na zawsze.

— Sam nie wiesz, jak mnie bawisz — odparła Albertyna wstając, bo pociąg miał się zatrzymać. Nietylko mi to mówi o wiele więcej niż sądzisz, ale nawet bez pani Verdurin będę ci mogła dostarczyć wszystkich objaśnień, jakich tylko zapagniesz. Przypominasz sobie, że ci mówiłam o przyjaciółce, starszej odemnie, która mi była matką, siostrą, z którą

spędziłam w Trieście najlepsze lata? Mam ją za kilka tygodni spotkać w Cherbourg, skąd puścimy się razem morzem (to trochę dziwie, ale ty wiesz, jak ja kocham morze); otóż, ta przyjaciółka (och, wcale nie w rodzaju tych kobiet, którebyś mógł przypuszczać!) — patrz, jakie to nadzwyczajne — jest właśnie najlepszą przyjaciółką córki tego Vinteuila, a i tę pannę Vinteuil znam prawie równie dobrze. Nie nazywam ich nigdy inaczej, tylko „moje duże siostry”. Cieszy mnie to, przyznaję, że twoja Albertynka przyda ci się na coś w sprawach muzyki, na których — jak słusznie zresztą powiadasz — nic się nie rozumiem.

Na te słowa, wyrzeczone w chwili gdyśmy wjeżdżali na stację Parville, tak daleko od Combray i od Montjouvain, w tyle lat po śmierci Vinteuila, drgnął w moim sercu obraz, trzymany w zapasie tak długo, że nawet gdybym mógł zgadnąć, magazynując go niegdyś, że posiada złowrogą moc, sądziłbym, że z biegiem czasu moc ta ulotniła się całkowicie. Obraz ten przetrwał we mnie — jak Orestes, któremu bogowie nie pozwolili zginąć, iżby w oznaczonym dniu wrócił do kraju pomścić śmierć Agamemnona — na moją mękę, na moją karę — kto wie, może za to żem dał umrzeć babce — wyłaniając się nagle z mroku, gdzie zdawał się na zawsze zagrzebany, uderzając niby Mściciel, aby mi dać rozpocząć życie straszliwe, zasłużone i nowe, może także aby ukazać moim oczom złowrogie skutki rodzące się bez końca ze złych czynów nie tylko dla tych co je popełnili, ale dla tych, którzy sądzili że jedynie przyglądają się ciekawemu i zabawnemu widowisku, jak ja niestety! o schyłku owego odległego dnia w Montjouvain, ukryty za krzakiem, gdzie (jak wówczas kiedyś z przyjemnością słuchał opowiadań o miłości Swanna) niebezpiecznie pozwoliłem się rozszerzyć we mnie złowrogiej i wróżącej boleść drodze Wiedzy. I równocześnie miałem poczucie swojej największej boleści, niemal dumne, niemal radosne; uczucie człowieka, który pod wpływem doznanego wstrząsu jednym skokiem znalazł się w punkcie, do którego żaden wysiłek nie zdołałby go wynieść. Albertyna — przyjaciółką panną Vinteuil i jej przyjaciółki, zawodowej adeptki safizmu! — była, wobec tego co sobie wyobrażałem w chwilach największych zwątpień, tem, czem, w stosunku do małego przyrządu akustycznego z wystawy r. 1889, zaledwie w najśmielszych nadziejach zdolnego przenieść głos z jednego domu do drugiego, są telefony biegnące nad ulice, miasta, pola, morza, łączące kraje. To była straszliwa *terra incognita*, do której oto przybiłem; otwierająca się przedemną nowa faza niepodejrzewanych cierpień. A mimo to, ten potop rzeczywistości jaki nas zalewa, olbrzymi w stosunku do naszych nieśmiałych i mizernych przypuszczeń, był w nich jednakże przeczuwany. Z pewnością, to, czego się właśnie dowiedziałem, fakt przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, to było coś, czego mój umysł nie mógłby wyroić, ale czego się bałem podświadomie, kiedyś się niepokoił, widząc Albertynę z Anną. Często jedynie przez brak twórczej wyobraźni nie idziemy dość daleko w cierpieniu. I najstraszliwsza rzeczywistość daje — równocześnie z cierpieniem — radość pięknego odkrycia, bo daje jedynie nową i jasną formę czemuś cośmy trawili w sobie długo, nie wiedząc o tem.

Pociąg zatrzymał się w Parville, że zaś byliśmy jedynymi pasażerami, konduktor krzyknął głosem zwątpiałym w poczucie bezużyteczności swego zadania, siłą tego samego nawyku który mu je kazał jednak spełniać i rodził w nim zarazem akuratność i indolencję, a bardziej jeszcze chęć do spania: „Parville!” Albertyna, siedząca na wprost mnie, czując się u celu podróży, podeszła kilka kroków i otworzyła drzwi. Ale ten ruch, którym gotowała się wysiąść, rozdarł mi nieznacznie serce, tak jakby, wbrew niezawisłej pozycji mego ciała, które ciało Albertyny zdawało się wypełniać z odległości dwóch kroków, ta przestrzeń między nami, którą obiektywny rysownik musiałby wyobrazić, była jedynie pozorem; gdyby ktoś chciał nas wyrysować w duchu prawdziwej rzeczywistości, musiałby umieścić teraz Albertynę nie opodal mnie, ale we mnie. Oddalając się, zadawała mi taki ból, że schwyciwszy ją za ramię, pociągnąłem ją rozpaczliwie.

— Czy byłoby fizycznym niepodobieństwem — spytałem — abyś dziś zanocowała w Balbec.

— Fizycznym, nie. Ale upadam z sennaści.

— Oddałabyś mi olbrzymią przysługę...

— Zatem dobrze, mimo że nie rozumiem, czemu nie powiedziałeś wcześniej. Więc dobrze, zostaję.

Matka spała już, kiedy ja, kazawszy dać Albertynie pokój na innym piętrze, wróciłem do siebie. Siadłem blisko okna, dławiąc łkanie, aby matka, oddzielona ode mnie jedy-

nie cienką ścianką, nie usłyszała. Nie pomyślałem nawet o tem, aby zamknąć okiennice, bo w pewnej chwili, podnosząc oczy, ujrzałem na wprost siebie na niebie ten sam blask przygaszonej czerwieni, jaką widziało się w restauracji w Rivebelle na *Zachodzie słońca* Elstira. Przypomniałem sobie podniecenie, jakie mną owładnęło, kiedy, w dniu pierwszego przybycia do Balbec, ujrzałem ten sam obraz wieczoru, poprzedzającego nie noc ale nowy dzień. Ale żaden dzień nie byłby teraz dla mnie nowy, nie obudziłby już we mnie żądzę nieznanego szczęścia; przedłużyłby jedynie moje cierpienia, aż do punktu, w którym nie miałbym już sił ich znieść. Prawda tego, co mi Cottard powiedział w kasyńce w Parville, była już dla mnie niewątpliwa. To, czegom się obawiał, o co tak długo mglisto podejrzewałem Albertynę, to co mój instynkt wyczuwał w całym jej istnieniu i czemu rozumowania moje, kierowane pragnieniem, kazały mi stopniowo zaprzeczyć, było prawdą! Poza Albertyną widziałem już nie sine pagórki morza, ale pokój w Montjouvain, gdzie ona pada w ramiona panny Vinteuil ze śmiechem, w którym rozlega się jakby nieznaną dźwięk jej rozkoszy. Bo, wobec urody Albertyny, jakżeby panna Vinteuil, przy swoich skłonnościach, nie zapragnęła ich zaspokoić? A dowodem że Albertyna nie uczuła się obrażona i że się zgodziła, czyż nie jest fakt, że się nie poróżniły, ale że ich zażyłość wciąż rosła. A ten wdzięczny gest Albertyny, opierającej głowę na ramieniu Rozamundy, patrzącej na nią z uśmiechem i całującej ją w kark, ten ruch, który mi przypomniał pannę Vinteuil, a w którego interpretacji wahałem się wszelako dopuścić myśl, że ta sama linia gestu płynęła nieuchronnie z tej samej skłonności — kto wie, czy Albertyna nie nauczyła się tego gestu, tego ruchu, poprostu od panny Vinteuil?

Pomału, zgaszone niebo zapalało się. Ja, który nigdy się dotąd nie budziłem bez uśmiechu do rzeczy najzwykleszych, do filiżanki kawy z mlekiem, do szmeru deszczu, do grzmotu wichru, uczulem, że dzień który wstanie za chwilę i wszystkie dni które przyjdą później, nie przyniosą mi już nigdy nadziei nieznanego szczęścia, ale przedłużenie męczeństwa. Zależało mi jeszcze na życiu; ale wiedziałem, że mogę się już od niego spodziewać tylko bólu. Pobiegłem do windy, aby, mimo niemożliwej godziny, zadzwonić na chłopca, który miał nocny dyżur. Poprosiłem go, aby poszedł do Albertyny powiedzieć, że mam jej coś ważnego do zakomunikowania, czy mogłaby mnie przyjąć. „Paniuszka woli przyjść sama — brzmiała odpowiedź. Będzie za chwilę”. W istocie, niebawem Albertyna weszła w szlafrocisku.

— Albertyno — rzekłem bardzo cicho, zalecając jej nie podnosić głosu, aby nie obudzić matki przez ściankę, której cienkość, niepożądana dziś i zmuszająca od szeptu, miała niegdyś, kiedy się na niej tak wymownie malowała czułość babki, coś z przejrzystości muzycznej — wstydę się, że cię niepokoję. Chodzi o to. Abyś zrozumiała, muszę ci powiedzieć coś, czego nie wiesz. Przybywając tutaj, zerwałem z kobietą, którą miałem zaślubić, która była gotowa wszystko rzucić dla mnie. Miała wyjechać dziś rano w podróż, i od tygodnia codziennie pytałem sam siebie, czy będę miał siłę nie zatelegrafować jej że wracam. Miałem tę siłę, ale byłem strasznie nieszczęśliwy, myślałem że się zabiję. Dlatego prosiłem cię wczoraj wieczór, czy nie mogłabyś zanocować w Balbec. Gdybym miał umrzeć, chciałem się pożegnać z tobą.

Tu dałem swobodny upust łzom, którym zmyślenie moje stwarzało naturalny pozór.

— Biedny mały, gdybym wiedziała, byłabym spędziła noc przy tobie — wykrzyknęła Albertyna, której nie przyszło nawet na myśl, że ja się może ożenię z tą kobietą i że tem samem przepada dla niej sposobność „dobrej partji”; tak szczerze była wzruszona zmartwieniem, którego powód był zmyślony, ale którego rzeczywistość i siła były prawdziwe. Zresztą — dodała — wczoraj przez całą drogę z la Raspelière czułam, że ty jesteś nerwowo i smutny, bałam się czegoś.

W rzeczywistości smutek mój zaczął się aż w Parville, a nerwowość — bardzo odmienna, ale którą Albertyna szczęśliwie mieszała z tym smutkiem — wynikała z irytacji, że mam z nią jeszcze spędzić kilka dni. Albertyna dodała: „Nie opuszczę cię już, zostaną cały czas tutaj”. Ofiarowywała mi tem samem — i ona jedna mogła mi je ofiarować — jedyne lekarstwo przeciw truciznie która mnie paliła; przyczem lekarstwo i trucizna były spokrewnione z sobą, jedno słodkie, drugie okrutne, oba porównie płynące z Albertyny. W tej chwili, Albertyna — moja choroba — folgowała w zadawaniu cierpień, a zaś Albertyna-lek czyniła mnie tklwym nakształt rekonwalescenta. Ale myślałem o tem, że ona niebawem wyjedzie do Cherbourg, a stamtąd do Triestu. Jej dawne nawyki odrodzą



się. Najważniejsze było dla mnie nie dać Albertynie wsiąść na statek, starać się ją zabrać do Paryża. Zapewne, z Paryża, łatwiej jeszcze niż z Balbec, mogłaby — gdyby zechciała — pospieszyć do Triestu; ale w Paryżu zobaczymy; może mógłbym poprosić pani de Guermantes, aby odwiodła pośrednio przyjaciółkę panny Vinteuil od pozostania w Trieście, mogłaby jej znaleźć inną posadę, może u księcia de X, którego spotykałem u pani de Villeparisis i u samej pani de Guermantes? A gdyby Albertyna chciała u niego odwiedzać swoją przyjaciółkę, księżę, uprzedzony przez panią de Guermantes, mógłby temu przeszkodzić. Z pewnością, mógłbym sobie powiedzieć, że jeżeli Albertyna ma te skłonności, znajdzie w Paryżu inne osoby, z którymi będzie je mogła zaspokoić. Ale każdy odruch zazdrości jest swoisty i nosi piętno istoty która go wznieciła, — w tym wypadku przyjaciółki panny Vinteuil. Przyjaciółka panny Vinteuil była moją główną troską. Tajemniczą namiętność, z jaką niegdyś myślałem o Austrii, ponieważ był to kraj z którego pochodziła Albertyna (wuj jej był tam radcą ambasady), ponieważ właściwości geograficzne tego kraju, lud który go zamieszkiwał, jego budowle, krajobrazy, mogłem oglądać, niby w atlasie, w zbiorze widoków, w uśmiechu i wzięciu Albertyny, tę tajemniczą namiętność odczuwałem jeszcze, ale — przez paradoksalność znaków — w dziedzinie okropności. Tak, to stamtąd przybywała Albertyna. Miała pewność że tam, w każdym domu, odnajdzie bądź przyjaciółkę panny de Vinteuil bądź inne kobiety. Nawyki dzieciństwa odrodzą się, przyjaciółki spotkają się za kwartał na Boże Narodzenie, potem na Nowy Rok — daty już smutne dla mnie same przez się bezwiednem wspomnieniem zgryzoty, jakiej doznawałem niegdyś, kiedy mnie one dzieliły na cały czas noworocznych feryj od Gilberty. Po długich biesiadach, po wilji, kiedy wszyscy będą radośni, ożywieni, Albertyna będzie z tamtejszemi przyjaciółkami taka jaka była z Anną, wówczas gdy przyjaźń Albertyny i Anny była niewinna; kto wie, może powtórzy z nimi te same uściski, które splotły w moich oczach pannę Vinteuil i ścigającą ją przyjaciółkę w Montjouvain. Teraz, pannie Vinteuil, podczas gdy przyjaciółka laskotała ją, zanim się zwała na nią, dawałem rozplomioną twarz Albertyny; Albertyny, która — słyszałem ją — uciekając poto aby się poddać później, śmiała się swoim szczególnym i głębokim śmiechem. Wobec męki, którą odczuwałem, czemuś była zazdrość doznana w dniu kiedy Saint-Loup spotkał nas w Doncières i kiedy go Albertyna kokietowała; i zazdrość zrodzona z myśli o nieznanym uwodzicielu, któremu mogłem zawdzięczać pierwsze pocałunki Albertyny w Paryżu, w dniu kiedy czekał listu od panny de Stermaria. Tamta zazdrość — o Roberta, o jakiegoś tam młodego człowieka — była niczem. Wówczas mógłbym próbować zwyciężyć rywala, który mnie straszył. Ale tu rywal nie był podobny do mnie, jego broń była inna, nie mógłbym walczyć na tym samym gruncie, dostarczyć Albertynie tych samych rozkoszy — ani nawet ściśle ich pojąć! Są momenty, w których zamienilibyśmy całą przyszłość za jakąś władzę choćby skądinąd nieznaczącą. Byłbym się niegdyś wyrzekł wszystkich skarbów życia aby poznać panią Blatin, bo była przyjaciółką pani Swann. Dziś, byle Albertyna nie jechała do Triestu, zniósłbym wszystkie cierpienia, a gdyby to nie wystarczało, zadałbym jej; odosobniłbym ją, zamknął, odebrałbym jej te trochę pieniędzy które miała, aby ich brak przeszkodził jej materialnie podjąć tę podróż. Jak niegdyś w podróży do Balbec motywem moim było pragnienie perskiego kościoła, burzy o świcie, tak teraz rozdzierała mi serce myśl, że Albertyna pojedzie może do Triestu, że spędzi tam noc wigilijną z przyjaciółką panny Vinteuil; bo wyobraźnia nasza, mimo iż zmieni naturę i obróci się we wrażliwość, nie rozporządza przez to większą ilością równoczesnych obrazów. Gdyby mi powiedziano, że owej osoby niema w tej chwili w Cherbourg ani w Trieście, że nie będzie mogła spotkać Albertyny, płakałbym ze słodyczy i ze szczęścia. Jakżeby to zmieniło moje życie i jego przyszłość! A przecież wiedziałem, że ta lokalizacja mojej zazdrości jest dowolna; że jeżeli Albertyna ma te skłonności, może je zaspokoić z innymi. Zresztą gdyby te same dziewczyny mogły ją widzieć gdzieindziej, nie odczułbym tego może tak boleśnie. To z Triestu, z tego nieznanego świata, świata — czułem to — tak lubego Albertynie, gdzie były jej wspomnienia, przyjaźnie, jej dziecinne miłości, wydzielala się owa atmosfera wroga, niewytłumaczona; jak ta która wznosiła się niegdyś aż do mego pokoju w Combray z jadalni, gdzie słyszałem mamę, rozmawiającą i śmiejącą się z obcymi w szczęku widelców, mamę która nie miała przyjsć mi powiedzieć dobranoc; jak ta, która wypełniła dla Swanna domy, gdzie Odeta chodziła szukać na balu niepojętych uciech. Myślałem teraz o Trieście, już nie jak o rozkoszonym kraju, gdzie mieszkańcy są pełni zadumy, zachody

słońca złote, dzwony smutne; ale jak o przekletem mieście, którebym chciał natychmiast spalić i usunąć z rzeczywistego świata. Owo miasto tkwiło w moim sercu jak uparta drzazga. Pozwolić Albertynie jechać niedługo do Cherbourg i do Triestu, to budziło we mnie zgrozę; a nawet zostać w Balbec. Bo teraz, kiedy świadomość zażyłości Albertyny z panną Vinteuil stała się niemal pewnikiem, zdawało mi się, że we wszystkich chwilach kiedy ona nie jest ze mną (a bywały całe dni, kiedy, z powodu ciotki, nie mogłem jej widywać) wydana jest na łup kuzynkom Blocha, może i innym. Myśl, że tego samego wieczora mogłaby widzieć kuzynki Blocha, przyprowadziła mnie o szaleństwo. Toteż, skoro mi powiedziała że mnie przez tych kilka dni nie opuści, odrzekłem:

— Ale bo ja chciałbym jechać do Paryża. Czy nie pojechałabyś ze mną? I czy nie chciałabyś pomieszkać trochę u nas w Paryżu?

Za wszelką cenę trzeba było nie dać Albertynie zostać samej, przynajmniej przez kilka dni, zatrzymać ją przy sobie, aby być pewnym że się nie może widywać z przyjaciółką panny Vinteuil. Trzeba było poprostu aby zamieszkała ze mną, bo matka, korzystając z inspekcyjnej podróży ojca, postanowiła sobie święcie wykonać wolę babki, która pragnęła aby mama spędziła kilka dni w Combray u jej siostry. Mama nie lubiła ciotki, ponieważ nie była dla babki, tak czulej dla niej, siostrą taką jakąby powinna być. Podobnie dzieci, dorósłszy, przypominają sobie z urazą tych co byli dla nich niedobrzy. Ale mama, stawszy się moją babką, była niezdolna do urazy; życie jej matki było dla niej niby czyste i niewinne dzieciństwo, gdzie miała czerpać owe wspomnienia, których słodycz lub gorzyc kierowała jej postępkami. Ciotka mogłaby dostarczyć mamie pewnych bezcennych szczegółów, ale teraz nie łatwo byłoby je uzyskać, bo ciotka zachorowała bardzo ciężko (mówiono o raku); mama wyrzucała sobie, że, chcąc dotrzymać towarzystwa ojcu, nie pojechała tam wcześniej; ale to była tylko jedna racja więcej, aby uczynić to, co byłaby zrobiła jej matka, tak jak w rocznicę śmierci ojca babki, który był tak złym ojcem, mama nosiła na grób kwiaty, dlatego że babka przywykła je nosić. Tak, wobec grobu, który miał się otworzyć, matka chciała zanieść chorej słodkie rozmowy, z jakimi owa ciotka nie przybyła do łóża babki. Przez czas pobytu w Combray, matka miała się zająć pewnymi pracami, których babka zawsze pragnęła, ale tylko o tyle, o ileby je wykonano pod dozorem mamy. Toteż nie zaczęto ich nawet. Mama nie chciała, opuszczając Paryż przed ojcem, zanadto dać mu uczuć ciężar żaloby, w której on brał udział, ale której nie mógł odczuć równie głęboko.

— Och! to nie byłoby możebne w tej chwili — odparła Albertyna. — Zresztą poco ty masz tak prędko wracać do Paryża, skoro ta osoba wyjechała?

— Bo w miejscu gdzie ją znałem będę się czuł spokojniejszy niż w Balbec, którego ona nigdy nie widziała i które mi obrzydło.

Czy Albertyna zrozumiała później, że owa inna kobieta nie istniała, i że, jeżeli tej nocy szczerze pragnąłem umrzeć, to dlatego, że mi niebacznie zdradziła, iż żyje blisko z przyjaciółką panny Vinteuil? Możliwe. Są chwile, że mi się to wydaje prawdopodobne. W każdym razie, tego rana wierzyła w istnienie owej kobiety.

— Ale ty powinienes się ożenić z tą osobą, kochanie; byłbyś szczęśliwy, a ona też z pewnością byłaby szczęśliwa.

Odpowiedziałem, iż myśl że mógłbym tę kobietę uczynić szczęśliwą, omal mnie w istocie nie zdecydowała; w ostatnim czasie, kiedy otrzymałem duży spadek, pozwalający mi otoczyć zbytkiem swoją żonę i uprzyjemnić jej życie, byłem skłonny przyjąć ofiarę tej którą kochałem. Byłem upojony wdzięcznością, jaką budziła we mnie poczciwość Albertyny, tuż po okrutnym cierpieniu które mi sprawiła. I tak jak przyrzekłoby się chętnie fortunę garsonowi, który nalewa nam w kawiarni szósty kieliszek wódki, powiedziałem jej, że moja żona będzie miała auto, jacht, że z tego punktu widzenia wielka szkoda że to nie ja, Albertynę, kocham; nie ja, która tak lubi wycieczki autem i spacerować jachtem; że byłbym dla niej doskonałym mężem, ale jeszcze zobaczymy, uda się nam może pędzić czas przyjemnie. Mimo wszystko — tak jak nawet po pijanemu nie zaczyna się przechodniów z obawy ciągów — nie popełniłem tej nieostrożności (o ile to była nieostrożność), aby zdradzić że to ja, Albertynę, kocham, jak byłbym to zrobił za czasów Gilberty.

— Widzisz, o mało się z nią nie ożeniłem. Nie odważyłem się jednak na to; nie ośmieliłbym się skazywać młodej kobiety na życie z kimś, kto jest tak cierpiący i nudny.

— Ależ tyś oszalał, każdy chce ciebie, popatrz jak wszyscy ubiegają się o ciebie. Tylko o tobie mówią u pani Verdurin, i w największym świecie też, upewniano mnie o tem. Więc ta pani nie była dobra dla ciebie, skoro ci pozwoliła tak zwątpić o sobie. Widzę już, co to za jedna, niedobra kobieta, nie cierpię jej; och, gdybym ja była na jej miejscu!

— Ale nie, jest bardzo miła, zanadto miła. Co się tyczy Verdurinów i innych, kpię sobie z tego. Poza tą którą kocham i której się zresztą wyrzekłem, zależy mi tylko na mojej Albertynce; jedynie ona, widując mnie często, przynajmniej przez pierwsze dni (dodałem, aby jej nie przestraszyć i aby móc wiele żądać przez te dni), będzie mogła trochę mnie pocieszyć.

Zrobiłem jedynie mglistą aluzję do możliwości małżeństwa, mówiąc zarazem, że jest ono niepodobieństwem, bo nasze charaktery nie zgodziłyby się z sobą. Wciąż mimo woli ścigany w swojej zazdrości wspomnieniem stosunków Roberta z „Rachelą kiedy Pan” i Swanna z Odetą, zbyt byłem skłonny wierzyć, że skoro kocham sam, nie mogę być kochany i że jedynie interes zdolny jest wiązać do mnie kobietę. Bez wątpienia, szaleństwem było sądzić Albertynę z Odety i Racheli. Ale nie chodziło o nią, chodziło o mnie; zazdrość moja kazała mi cenić zbyt nisko uczucia, jakie mogłem budzić. I z tego sądu — może błędnego — zrodziło się bezwątpienia wiele nieszczęść, które miały się na nas zwałić.

— Zatem odrzucasz zaproszenie do Paryża?

— Ciotka nie zgodziłaby się w tej chwili na mój wyjazd. Zresztą, nawet gdybym później mogła, czy to nie wyglądałoby dziwnie, gdybym w ten sposób zamieszkała u ciebie? W Paryżu dowiedzą się prędko, że nie jestem twoją kuzynką.

— No więc w takim razie powiemy, że jesteśmy trochę zaręczeni. Co to szkodzi, skoro ty wiesz, że to nie prawda.

Szyja Albertyny, wychylająca się całkowicie z koszuli, była jędrna, złota, gładka. Ucałowałem ją tak niewinnie, jakbym ucałował matkę, aby ukoić zgryzotę dziecka, niepodobną — jak sądziłem wówczas — do wyrwania kiedykolwiek z serca. Albertyna opuściła mnie, aby się iść ubrać. Zresztą, już jej oddanie słabo; przed chwilą powiedziała mi, że mnie nie opuści ani na sekundę. (I czułem, że jej postanowienie nie potrwa długo, skoro się obawiałem, w razie gdybyśmy zostali w Balbec, że tego samego wieczoru spotka się bezemnie z kuzynkami Blocha). Otóż właśnie powiedziała mi, że chce pojechać do Maineville i że wróci do mnie popołudniu. Nie była w domu od wczoraj, mogą być listy dla niej, ciotka może być niespokojna... Odpowiedziałem:

— Jeżeli tylko o to chodzi, można posłać chłopca, żeby powiedział ciotce że jesteś tutaj i żeby przywiózł listy.

Chcąc się okazać uprzejmą, ale podrażniona tą niewolą, zmarszczyła się, poczem zaraz milutko odpowiedziała: „Wybornie”, i posłała chłopca. Ledwo Albertyna wyszła, chłopiec zapukał lekko. Nie spodziewałem się, aby w czasie przez który rozmawiałem z Albertyną zdążył pojechać do Maineville i wrócić. Oznajmił mi, że Albertyna napisała słówko od ciotki i że, jeżeli chcę, może jechać od Paryża, choćby dziś.

Źle zresztą zrobiła Albertyna, że dała chłopcu zlecenie ustne, bo już, mimo wczesnej godziny, dyrektor wiedział o wszystkim i jak oszalały przybiegł pytać, czy jestem z czego niezadowolony, czy naprawdę jadę, czy nie mógłbym bodaj zaczekać kilka dni: dziś właśnie „grożą silne wiatry”.

Nie mogłem mu tłumaczyć, że chcę za wszelką cenę aby Albertyny nie było już w Balbec w porze kiedy kuzynki Blocha wychodzą na spacer, zwłaszcza gdy niema Anny, jedynej która mogłaby ją ustrzec, i że Balbec jest dla mnie jak owe miejscowości, gdzie chory, niezdolny w nich oddychać, zdecydowany jest nie spędzić ani jednej nocy dłużej, choćby miał umrzeć w drodze. Zresztą, miałem walczyć z tego samego rodzaju prośbami najpierw w hotelu, gdzie Marja Gineste i Celesta Albaret przyjęły mnie z czerwonymi oczami. (Marja wydawała poza tem łkania szybkie jak bulgot strumienia. Łagodniejsza Celesta zalecała jej spokój, ale kiedy Marja wyszeptala jedyne wiersze, jakie umiała: *Ici bas tous les lilas meurent*, Celesta nie mogła się wstrzymać i lzy polały się po jej twarzy bżowego koloru; sądzę zresztą, że zapomniały o mnie jeszcze tego wieczora). Następnie, w kolejce, mimo wszystkich ostrożności, spotkałem pana de Cambremer, który na widok moich kuferków zbłądł, bo liczył na mnie na pojutrze; zniecierpliwił mnie ostatecznie,

chcąc mnie przekonać, że moje duszności wynikają z odmiany pogody i że październik będzie dla nich doskonały; zapytał wreszcie, czy w każdym razie „nie mógłbym odłożyć wyjazdu na tydzień”, zwrot, którego głupota nie wprawiała mnie we wściekłość może jedynie dlatego, że to, co mi proponował, zadawało mi ból. I podczas gdy mówił do mnie, drżałem za każdą stacją, że się zjawią — straszliwi od Heribalda lub Guiscarda — p. de Crécy błagający o zaproszenie go na obiad, lub jeszcze groźniejsza pani Verdurin ze swemi zaproszeniami. Ale to się miało zdarzyć aż za parę godzin. Nie doszedłem jeszcze do tego punktu. Miałem stawić czoło jedynie rozpaczliwym lamentom dyrektora. Spławiłem go, bo się bałem, że nawet szept jego gotów jest obudzić mamę. Zostałem sam w pokoju, w tym samym zbyt wysokim pokoju, gdzie byłem tak nie szczęśliwy za pierwszym przybyciem, gdzie myślałem tak tkliwie o pannie de Stermaria, gdzie czatowałem na pojawienie się Albertyny i jej przyjaciółek, niby na przelot wędrownych ptaków przysiadających na plaży; gdzie posiadałem ją tak niedbale, sprowadziwszy ją przez lift-boya, gdzie poznałem dobroć babki a potem zrozumiałem że umarła. Tutaj rozchyliłem pierwszy raz te firanki, u których stóp słało się światło poranne; rozchyliłem je, aby ujrzeć pierwsze szańce morza (te firanki, które Albertyna kazała mi zasuwać, aby nie widziano jak się całujemy). Nabierałem świadomości własnych przeobrażeń, konfrontując je z tożsamością rzeczy. Człowiek przyzwyczajają się jednak do nich jak do osób, przypomina sobie nagle odmienne znaczenie jakie zawierały, a potem, kiedy straciły wszelkie znaczenie, wypadki bardzo inne od dzisiejszych, dla których tworzyły ramę, różnorodność czynności rozegranych pod tym samym sufitem, między temi samemi oszklonemi szafkami, zmiany w sercu i w życiu jakie ta różnorodność niesie z sobą, wydają się jeszcze pogłębiane przez niezmienną trwałość dekoracji, spotęgowane jednością miejsca.

Parę razy odczułem przez chwilę myśl, że świat, w którym znajduje się ten pokój i te szafki i w którym Albertyna gra tak małą rolę, jest może światem intelektualnym, będącym jedyną realnością, a moja zgryzota jest czemś podobnem do zgryzoty zrodzonej z lektury romansu, z której jedynie warjat mógłby uczynić zgryzotę trwałą i ciągłą i promieniującą w jego życie; że wystarczyłoby może małego wysiłku woli aby osiągnąć ten rzeczywisty świat, wejść w niego, przeskakując boleść niby papierową obręcz, którą się przebija, i nie troszczyć się już o to co robi Albertyna, tak jak, skończywszy czytać powieść, nie troszczymy się o czyny urojonej bohaterki. Zresztą, kochanki które najbardziej kochałem nie stykały się nigdy z moją miłością do nich. Miłość ta była prawdziwa, skoro poświęcałem wszystko temu aby je widzieć, aby je mieć dla siebie samego, skoro szlochałem, kiedy, któregoś wieczora, czekałem na nie. Ale one nietylko były obrazem tej miłości, ile raczej miały zdolność budzenia jej, doprowadzania do paroksyzmu. Kiedym je widział, kiedym je słyszał, nie znajdowałem w nich nic, coby było podobne do mojej miłości i coby ją mogło wytłumaczyć. Jednakże moją jedyną radością było widzieć te kobiety, jedynem wzruszeniem oczekiwać ich. Można by rzec, że natura przydała im jakąś właściwość, nie mającą z nimi związku; i że ta siła jakgdyby elektryczna działała na mnie tak, że wzniecała moją miłość, to znaczy kierowała wszystkimi memi postępami i rozdziła wszystkie cierpienia. Ale piękność, albo inteligencja, albo dobroć tych kobiet były od tego całkowicie odrębne. Miłości moje wstrząsały mną tak jak nami wstrząsa prąd elektryczny: przeżywałem je, czułem, ale nigdy nie zdołałem ich ujrzeć ani ich pomyśleć. Skłonny nawet jestem mniemać, że w tych miłościach (pomijam rozkosz fizyczną, która zresztą towarzyszy im zazwyczaj, ale nie wystarcza aby je obudzić) pod postacią kobiety zwracamy się niby do tajemnych bóstw, niewidzialnych sił, które jej przygodnie towarzyszą. To ich łaskawość jest nam potrzebna, ich kontaktu szukamy, nie znajdując w nim pozytywnej rozkoszy. W czasie schadzki miłosnej, kobieta wprowadza nas w styczność z temi boginiami — i to jest bodaj że wszystko. Przrzekliśmy, jako ofiarę, kosztowności, podróże; wyrzekliśmy formuły, które znaczą że uwielbiamy, lub też formuły, które znaczą że jesteśmy obojętni. Użyliśmy całej swojej mocy, aby uzyskać nową schadzkę, ale taką której by nam użyczono bez przykrości. Czyż dla samej kobiety gdyby jej nie dopełniały owe tajemne siły — zadawalibyśmy sobie tyle trudu? toż, kiedy poszła, nie umielibyśmy powiedzieć jak była ubrana i spostrzegamy żeśmy na nią nawet nie spojrzeli!

Ponieważ wzrok jest zmysłem zawodnym, ciało ludzkie — nawet kochane, jak dla mnie ciało Albertyny — wydaje się nam czemś poza nami — o kilka metrów, o kilka centymetrów. I tak samo dusza, która od niego należy. Ale niech coś zmieni nagle miejsce

tej duszy w stosunku do nas, niech zdradzi że ona kocha kogoś innego, wówczas po biciu zdyszanego serca czujemy, że to nie o kilka kroków, ale w nas była druga istota. W nas, w regionach mniej lub więcej powierzchownych. Ale słowa: „Ta przyjaciółka, to panna Vinteuil”, były dla mnie sezamem, którego nie byłbym zdolny znaleźć sam, który wprowadził Albertynę w głębię mego rozdartego serca. I mógłbym przez sto lat próbować otworzyć bramę, która się zamknęła za nią, nie wiedząc jak tego dokonać.

Te słowa przestałem słyszeć przez chwilę, wówczas kiedy Albertyna była ze mną. Ścisnąc ją tak jak ścisnąłem matkę w Combray aby ukoić ból serca, wierzyłem prawie w niewinność Albertyny, lub bodaj nie myślałem bez przerwy o skazie w niej odkrytej. Ale teraz, kiedy byłem sam, słowa rozbrzmiewały na nowo jak owe wewnętrzne szmery ucha, które słyszymy gdy ktoś przestał do nas mówić. Zboczenie jej było teraz dla mnie niewątpliwe. Słońce, które miało wstać zmieniając świat dokoła mnie, dało mi na nowo — jakgdyby przemieszczając mnie na chwilę w stosunku do Albertyny — jeszcze okrutniejszą świadomość cierpienia. Nigdy jeszcze poranek nie wstawał mi piękniejszy ani tak bolesny. Myśląc o wszystkich obojętnych krajobrazach które rozbłysną i które wczoraj jeszcze napęliły by mnie jedynie chęcią zwiedzania, nie mogłem wstrzymać łkania. Naraz mechanicznie spełnionym ofiarnym gestem, który zdawał mi się symbolizować krwawą ofiarę, jaką będę musiał uczynić z wszelkiej radości, co rano, aż do końca życia, uroczycie za każdą jutrzeźną świecącą odnowę mej codziennej zgryzoty i krwawiącej rany, złote jajko słońca, jakgdyby wprawione w ruch zwichnięciem równowagi, jakie sprowadza w chwili krzepnięcia zmiana gęstości, najeżone płomieniami niby na obrazie, przebiło jednym rzutem zasłonę, za którą od paru chwil czuło się je drżące, gotowe wdrzeć się na scenę, i której tajemniczą i skrzepłą purpurę zalało falami światła. Usłyszałem własny płacz. Ale w tej chwili, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, drzwi się otwarły: z bijącym sercem doznałem wrażenia, że widzę babkę przed sobą, niby w jednej z owych zjaw, jakie już widywałem, ale tylko we śnie. Czyż to wszystko było tylko snem? Niestety, to była jawa. „Uważasz, że jestem podobna do biednej babki” — rzekła ze słodyczą mama — bo to była ona — jakgdyby chcąc uspokoić moje przerażenie, stwierdzając zresztą podobieństwo pięknym uśmiechem skromnej dumy, która nigdy nie znała zalotności. Jej włosy w nieładzie — przyczem siwe pasma nie były schowane i kręciły się dokoła niespokojnych oczu, postarzałych policzków, szlafrok nawet babki który nosiła, wszystko to przez chwilę wprowadziło mnie w błąd i kazało mi się wahać czy ja śpię, czy też babka zmartwychwstała. Oddawna już matka podobna była do babki, o wiele bardziej niż do młodej i roześmianej mamy, którą znało moje dzieciństwo. Ale już nie myślałem o tem. Podobnie, kiedy się długo czytało, nie spostrzega się w roztargnieniu że przeszła godzina i nagle widzi się słońce takie jak było w wilję o tej samej godzinie, budzące dokoła siebie te same harmonje, te same związki przygotowujące zachód. Matka sama podkreśliła moją omyłkę z uśmiechem, bo miłe jej było takie podobieństwo do babki.

— Przyszłam — rzekła — bo zdawało mi się przez sen, że ktoś płacze. To mnie obudziło. Ale czym się dzieje, że ty nie leżysz? I oczy masz pełne łez. Co się stało?

Rzuciłem się jej na szyję.

— Mamo, boję się że ci się wydam bardzo zmienny. Ale przedewszystkiem, wczoraj mówiłem ci nie bardzo życzliwie o Albertynie; to com mówił było niesprawiedliwe.

— Ale cóż to znaczy? — rzekła matka i spostrzegając wschodzące słońce, uśmiechnęła się smutno, myśląc o swojej matce; i abym nie stracił widoku, na który, ku żalowi babki, nie patrzałem nigdy, wskazała mi okno. Ale za plażą w Balbec, za morzem, za wschodem słońca, które mama mi pokazywała, w konwulsji rozpacz, która nie uchodziła jej uwagi, widziałem pokój w Montjouvain, gdzie Albertyna, różowa, zwinięta w kłębek jak wielka kotka, z kapryśnym noskiem, zajęła miejsce przyjaciółki panny Vinteuil i mówiła z rozkosznym śmiechem:

— I co, jeżeli nas widzą, tem lepiej będzie smakowało. Ja nie odważyłabym się napluć na tę starą małpę?

To tę scenę widziałem za sceną która rozpościerała się w oknie i która była dla tamtej niby ciemna zasłona, niby odbicie. Zdawała się w istocie sama prawie nierealna, jak namalowany widok. Nawprost nas, na cyplu skał Parville, gaik gdzieśmy grali w lisa, nachylał skośnie ku morzu, pod złoconym jeszcze połyskiem wody, odbicie swej zieleni, jak

w chwili kiedy często, o schyłku dnia, odbywając siestę z Albertyną, wstawaliśmy, widząc że słońce zapada. W zamęcie mgieł nocnych, które włożyły się jeszcze w różowych i niebieskich strzępach po wodach zawalonych szczątkami perłowej masy świtu, statki przepływały uśmiechając się w skośnym świetle, które złościło ich żagle i dzioby, jak kiedy wracają wieczorem: scena urojona, drżąca i pusta, czysta zjawa zachodu, nie spoczywająca, jak wieczorem, na szeregu godzin dnia, które ją zazwyczaj dla mnie poprzedzały; scena wiotka, sztuczna, wątlejsza jeszcze niż okropny obraz Montjouvain, którego nie zdołał unicestwić, pokryć, ukryć — poetycki i czczy obraz wspomnienia i snu.

— Ależ — rzekła matka — nie powiedziałaś o niej nic złego; powiedziałaś że cię nudzi trochę, że rad jesteś porzuciwszy myśl żenienia się z nią. To nie racja, żeby tak płakać. Pomyśl, że mama jedzie dzisiaj, i że będzie w rozpacz, zostawiając swego kociaka w tym stanie. Zwłaszcza, biedny mój mały, że nie bardzo będę miała czas cię pocieszać. Bo niby to jestem zapakowana, ale zawsze ma się za mało czasu w dniu wyjazdu.

— To nie to.

I wówczas, obliczając przyszłość, ważąc dobrze swoją wolę, rozumiejąc że taka czułość Albertyny dla przyjaciółki panny Vinteuil — i przez tak długi czas — nie mogła być niewinna, że Albertyna jest świadoma grzechu i że zresztą, jak każdy jej gest świadczył o tem, urodziła się z instynktem zboczenia, które niepokój mój aż nazbyt często przeczuwał, któremu zapewne nigdy nie przestała się oddawać (i oddaje się może w tej chwili, korzystając z mojej nieobecności), powiedziałem matce, wiedząc jaką przykrość jej sprawiam, przykrość której mi nie pokazała zdradzając ją jedynie owym wyrazem poważnego zamyślenia, jaki matka przybierała, ilekroć ważyła alternatywę mojej przykrości a mojej szkody; ów wyraz, jaki miała w Combray pierwszy raz kiedy się zgodziła spędzić noc przy mnie, w tej chwili nadzwyczaj podobny do wyrazu babki, gdy mi pozwalała pić koniak — powiedziałem tedy matce:

— Wiem, jaką ci przykrość sprawię. Po pierwsze, zamiast zostać tutaj, jak chciałaś, wyjeżdżam równocześnie z tobą. To jeszcze nic. Źle się czuję tutaj, wolę wracać. Ale słuchaj, nie martw się zbyt. Więc tak. Omyliłem się, oszukałem cię mimowoli wczoraj, zastanawiałem się nad tem całą noc. Muszę koniecznie — i postanówmy to zaraz, ponieważ zdaję sobie teraz dobrze ze wszystkiego sprawę, ponieważ już się nie zmienię i nie mógłbym już żyć inaczej; muszę koniecznie ożenić się z Albertyną.

## *Uwięziona*

## *Uwięziona*

# TOM PIERWSZY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY. WSPÓLNE ŻYCIE Z ALBERTYNĄ<sup>963</sup>.

Od rana, z głową jeszcze obróconą do ściany, zanim sprawdziłem nad portierami w oknach odcień smugi światła, wiedziałem już, jaka jest pogoda. Powiedziały mi o tym pierwsze odgłosy ulicy, wedle tego, czy dochodziły mnie stępione i spaczone przez wilgoć, czy też drgające jak strzały w dźwięcznej i pustej przestrzeni przestronnego, mroźnego i czystego ranka; z hałasu pierwszego tramwaju zgadywałem, czy markoci się w dżdżu, czy też pomyka w błękit. A nawet te odgłosy poprzedzał może jakiś szybszy i wnikliwszy fluid, który wślizgnąwszy się poprzez mój sen, sączył weń smutek zwiastujący śnieg lub też kazał jakiejś nieuchwytniej istotce intonować tak mnogie kantyczki na chwałę słońca, że w końcu budziłem się w fali oszalamiającej muzyki. Jeszcze na wpół uspioony, zaczynałem się uśmiechać, zamknięte moje powieki przygotowywały się na blask.

W tym okresie odbierałem wrażenia życia zewnętrznego przeważnie ze swego pokoju. Bloch opowiadał, że kiedy przychodził do mnie wieczór, słyszał jak gdyby szmer rozmowy; ponieważ matka była w Combray, on zaś nie zastawał nikogo w moim pokoju, wyciągnął stąd wniosek, że ja rozmawiam sam ze sobą. Kiedy o wiele później dowiedział się, że Albertyna mieszkała wówczas u mnie, zrozumiał, że ją chowałem przed wszystkimi, i oświadczył, że wreszcie pojmuje, czemu w owej epoce nie chciałem nigdzie bywać. Omylił się. Rzecz zresztą bardzo naturalna; mimo iż łańcuch faktów jest konieczny, nie da się go jednak dokładnie przewidzieć. Poznając jakiś ścisły szczegół z cudzego życia, ludzie wyciągają natychmiast fałszywe konsekwencje i świeżo odkrytym faktem wyjaśniają rzeczy, które właśnie nie mają z nim nic wspólnego.

Kiedy myślę teraz, że Albertyna po powrocie z Balbec zgodziła się zamieszkać ze mną w Paryżu pod jednym dachem, że się wyrzekła morskiej podróży, że sypialnia jej była o dwadzieścia kroków od mojej, na końcu korytarza, w gabinecie mojego ojca, obwieszonym dywanami; że co wieczór, bardzo późno, zanim mnie opuściła, wsuwała w moje usta język — jak chleb powszedni, jak posilny pokarm, mający niemal świętość wszelkiego ciała, któremu cierpienia doznane z jego powodu użyczają w końcu jakiejś duchowej słodyczy — odtwarzam sobie natychmiast, przez porównanie, nie ową noc, którą kapitan de Borodino pozwolił mi spędzić w koszarach (co ostatecznie uleczyło mnie jedynie z chwilowego ucisku serca), ale noc, w której ojciec pozwolił mamie spać obok mojego łóżeczka. Bo życie, jeżeli się decyduje jeszcze raz wyzwolić nas z cierpienia, które zdawało się nieuniknione, czyni to w odmiennych warunkach, czasem wręcz tak sprzecznych, że niemal świętokradztwem jest podkreślać analogie!

Mimo iż w pokoju przed rozsunięciem firanek było jeszcze ciemno, dowiedziawszy się od Franciszki, że nie śpię, Albertyna nie bała się robić nieco hałasu, kąpiąc się w swojej łazience. Wówczas zamiast czekać późniejszej godziny szedłem często do sąsiedniej łazienki, dość milej. Niegdyś dyrektor teatru wydawał setki tysięcy, aby usiać prawdziwymi szmaragdami tron, na którym gwiazda grała rolę cesarzowej. Balety rosyjskie przekonały nas, że prosta gra światła właściwie skierowana stwarza klejnoty równie wspaniałe, a rozmaitsze. Ale i ta dekoracja, choć bardziej odmaterializowana, nie jest tak urocza, jak efekty słońca, oglądane o ósmej rano w miejsce tych, które przywykliśmy oglądać, wstając w południe. Aby nas ustrzec od niedyskretnych oczu, okna w obu łazienkach nie były gładkie, ale zmarszczone sztucznym i niemodnym szronem. I nagle słońce barwiło żółto ten szklany muślin, złociło go i odsłaniając pomału we mnie dawniejszego młodego człowieka, którego długo skrywało przyzwyczajenie, upijało mnie wspomnieniami, tak jakbym był gdzieś wśród drzew, w cieniu złączających się liści, w których nie brakło nawet ptaka. Bo słyszałem Albertynę gwiżdżącą bez przerwy:

Szaleństwem są, ach, cierpienia,

<sup>963</sup> *Uwięziona. Wspólne życie z Albertyną* — ten tom i następne aż do końca dzieła ukazały się po śmierci Prousta z pozostawionego przezeń rękopisu; tym samym brak jest tym częściom ostatniego dotknięcia ręki pisarza, który zwykł był dużo pracować na korektach. [przypis tłumacza]

Szaleńszy, kto słucha ich...<sup>964</sup>

Zbyt ją kochałem, aby się nie uśmiechać radośnie z jej złego smaku w muzyce. Piosenka ta zachwycała zresztą poprzedniego lata panią Bontemps; dowiedziawszy się niebawem, że to „tandeta”, przestała skłaniać Albertynę do zaśpiewania jej przy gościach, ale zastąpiła ją inną:

Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych...<sup>965</sup>

Ale z kolei i ta melodia stała się „starą katarynką Masseneta, którą ta smarkata kotłuje nam głowę”.

Przechodziła chmura, zaćmiewała słońce, wstydlive i gęste listowie szklane gasło i wsiąkało w szarość.

Za gotowalnię<sup>966</sup> służyła Albertynie łazienka, którą mama, mając drugą w innej części mieszkania, nigdy się nie posługiwała, aby nie hałasować w pobliżu mnie. Przepierzenie dzielące nasze gotowalnie było tak cienkie, że myjąc się, mogliśmy rozmawiać: rozmowę przerywał jedynie plusk wody. Takie współzycie częste bywa w hotelu z powodu szczupłości mieszkania i sąsiedztwa pokojów, ale w Paryżu jest raczej rzadkie.

Czasem leżałem dłużej, marząc sobie do woli, bo nie wolno było nikomu wchodzić do mojego pokoju, aż zadzwonię, co z powodu nieporęcznego umieszczenia dzwonka wymagało tyle czasu, że często, zmęczony daremnymi próbami, rad, że jestem sam, niemal zasypiałem na nowo. Nie znaczy to, aby poczucie obecności Albertyny było mi całkowicie obojętne. Oderwanie jej od przyjaciółek oszczędziło memu sercu nowych cierpień; utrzymywało to serce w spokoju, w bezwładzie, który miał mi pomóc do wyzdrowienia. Ale ten spokój, który mi dawała Albertyna, był raczej ukojeniem cierpień niż radością. Zapewne, pozwolił mi kosztować wielu radości, których nazbyt żywy ból wzbraniał mi wprzód; ale radości tych nie zawdzięczałem Albertynie. Już mi się prawie nie wydawała ładna, nudziłem się z nią, miałem wyraźną świadomość, że jej nie kocham. Czulem się natomiast szczęśliwy wówczas, gdy Albertyny nie było. Zwykle też nie kazałem jej wołać zaraz po przebudzeniu, zwłaszcza gdy ranek był piękny. Przez kilka chwil zostawałem sam na sam ze wspomnianą już wewnętrzną osobką, śpiewem pozdrawiającą słońce; wiedziałem, że mi da więcej szczęścia niż Albertyna. Z istot, które składają naszą osobowość, niekoniecznie te najjawniejsze są dla nas najważniejsze. I kiedy choroba powali je wreszcie kolejno, pozostanie ich we mnie jeszcze parę, o życiu twardszym od innych; zwłaszcza pewien filozof, szczęśliwy jedynie wtedy, kiedy odkryje jakąś wspólność między dwoma dziełami lub dwoma wrażeniami. Ale czasem zastanawiałem się, czy ostatnim ze wszystkich nie będzie mały człowieczek, bardzo podobny do tego, którego pamiętałem za szybą u optyka w Combray. Człowieczek ten oznajmiał pogodę i zdejmując kaptur, gdy świeciło słońce, nakładał go w deszcz. Znam egoizm tego człowieczka; mogę mieć astmę, którą uspokoiłby jedynie rześisty deszcz, ale on nie troszczy się o to; za pierwszymi, tak niecierpliwie przeze mnie oczekiwanymi kroplami, traci humor, naciąga markotnie kaptur. Przypuszczam w zamian, że w chwili agonii, kiedy wszystkie inne moje „ja” będą martwe, jeżeli błysnie promień słońca, gdy będę wydawał ostatnie tchnienie, osobka z barometru będzie się czuła bardzo rada i zdejmie kaptur, śpiewając: „Och, nareszcie pogoda”.

Dzwoniłem na Franciszkę i sięgałem po „Figaro”<sup>967</sup>. Szukałem bezskutecznie artykułu (o ile można to tak nazwać), który posłałem do tego dziennika; była to opracowana nieco, a świeżo odnaleziona stronica, napisana niegdyś w powozie doktora Percepied pod wrażeniem wień w Martinville. Potem czytałem list od mamy. Mama uważała za dzikie, niewłaściwe, aby młoda panna mieszkała sama ze mną. Pierwszego dnia, w chwili wyjazdu z Balbec, kiedy mnie widziała tak nieszczęśliwym i martwiła się, że mnie zostawia

<sup>964</sup> *Szaleństwem są, ach, cierpienia...* — *Le biniou*, francuska piosenka, której słowa napisał Hippolyte-Louis Guérin (1797–1861), a muzykę skomponował Émile Durand (1830–1903). [przypis edytorski]

<sup>965</sup> *Pieśń pożegnania, ze źródeł zmaconych...* — *Pensée d'automne* (Jesienna refleksja, 1887), pieśń na fortepian, której słowa napisał poeta Paul Armand Silvestre (1837–1901), a muzykę skomponował Jules Massenet (1842–1912). [przypis edytorski]

<sup>966</sup> *gotowalnia* (daw.) — pokój do ubierania się lub stolik z lustrem i przyborami do robienia toalety (toaletka). [przypis edytorski]

<sup>967</sup> „*Figaro*” — popularny konserwatywny dziennik paryski, założony w 1854. [przypis edytorski]



samego, może była rada, dowiadując się, że Albertyna jedzie z nami, i patrząc, jak tuż obok naszych walizek (nad tymi walizkami spędziłem noc w Hôtel de Balbec, płacząc) pakują do wagonu wąskie i czarne walizki Albertyny. Wydawały mi się podobne do trumien, nie wiedziałem, czy wniosą w mój dom życie czy śmierć... Ale nie zadałem sobie nawet tego pytania w ów promienny poranek, po grozie pozostania w Balbec, szczęśliwy, że zabieram Albertynę. Matka nie była wtedy<sup>968</sup> zrazu wroga memu projektowi; odnosiła się mile do Albertyny, niby mamusia, której syn jest ciężko ranny i która wdzięczna jest jego młodej przyjaciółce pielęgnującej go z oddaniem. Usposobienie mamy zmieniło się od czasu, jak się ów projekt zrealizował zbyt dokładnie, w miarę jak pobyt młodej panny w naszym domu przeciągał się, i to w nieobecności moich rodziców. Ale nie mogę powiedzieć, aby matka zdradziła kiedyś przede mną tę wrogość. Jak niegdyś, kiedy nie śmiała mi już wyrzucać nerwowości, lenistwa, tak teraz — w danej chwili może to nie całkiem odgadłem lub nie chciałem odgadnąć — podnosząc pewne wątpliwości co do panny, którą, jak jej mówiłem, uważałem za swoją narzeczoną, bała się osmucić moje życie, podkopać mój późniejszy stosunek do żony, zaszczerpić mi może na później, kiedy matki już nie będzie, wyrzut, żem ją zmartwił, żeniąc się z Albertyną. Nie mając nadziei odwrócić mnie od tego wyboru, mama wolała udawać, że go pochwała. Ale wszyscy, co ją widzieli w owej epoce, powiadali, że ból po stracie matki zaostrił się wyrazem nowej troski. Owo napięcie myśli, ciągła wewnętrzna rozterka, przyprawiały mamę o uderzenia krwi do głowy, tak że stale otwierała okna dla ochłody. Ale nie umiała powziąć decyzji z obawy, aby na mnie nie wpłynąć w ujemnym sensie i nie popsuć tego, co uważała za moje szczęście. Nie mogła się nawet zdobyć na protest przeciw pobytowi Albertyny. Nie chciała się okazać surowsza od pani Bontemps; to była przede wszystkim jej sprawa, ona zaś nie uważała tego za niestosowne, co bardzo dziwiło matkę. W każdym razie żałowała, że nas musi zostawić we dwoje, jadąc właśnie do Combray, gdzie mogła zostać (i w istocie została) długie miesiące, w ciągu których cioteczna babka potrzebowała jej dniem i nocą. W tych okolicznościach wiele dobroci i oddania okazał jej Legrandin, który nie uchylając się przed żadnym trudem, z tygodnia na tydzień odkładał powrót do Paryża, niewiele nawet znając moją ciotkę, po prostu dlatego że była niegdyś przyjaciółką jego matki i dlatego że czuł, iż chora, skazana na śmierć, lubi jego opiekę i nie może się obyć bez niego. Snobizm jest ciężką chorobą duszy, ale zlokalizowaną, tak iż nie psuje jej całej.

Ja, przeciwnie, byłem bardzo rad z pobytu mamy w Combray; inaczej bałbym się, aby matka nie odgadła przyjaźni Albertyny z panną Vinteuil, a nie mogłem powiedzieć Albertynie, żeby się z tym kryła. Stałoby się to w oczach matki absolutną przeszkodą, nie tylko do małżeństwa (o którym zresztą na jej prośbę nie miałem jeszcze stanowczo mówić z Albertyną i o którym myśl była mi coraz nieznośniejsza), ale nawet do pobytu Albertyny u nas. Poza tą tak poważną a nieznaną jej racją, mama, z jednej strony przez kult babki, uwielbiającej George Sand<sup>969</sup> i mieszczącej cnotę w szlachectwie serca, z drugiej strony zdeprawowana moim wpływem, była teraz pobłażliwa dla kobiet, których życie osądziłaby surowo niegdyś (lub nawet dziś, o ile by należały do jej znajomych i przyjaciółek z Paryża lub z Combray); kobiet, których wielką duszę chwaliłem przed mamą i którym wiele przebaczała, bo mnie kochały. Mimo wszystko, i nawet poza kwestią konwenansów, sądzę, że Albertyna byłaby niemożliwa dla mamy, przechowującej po Combray, po ciotce Leonii, po wszystkich swoich krewnych, nawyki porządku, o którym Albertyna nie miała najmniejszego pojęcia.

Albertyna nie zamknęłaby drzwi, a w zamian nie wahałaby się wejść, niby pies lub kot, kiedy drzwi były otwarte. Wdziękiem jej, nieco uciążliwym, było to, że grała u nas w domu rolę nie tyle młodej dziewczyny, ile zwierzęcia domowego, które wchodzi, wychodzi, płacze się to tu to tam, rzuca się na łóżko obok mnie — cóż za wypoczynek dla mnie! — robi sobie tam miejsce, z którego się już nie rusza, nie krępując mnie, w przeciwieństwie do ludzkiej osoby. Bądź co bądź, nagięła się w końcu do moich godzin snu, do tego, aby nie próbować nie tylko wchodzić, ale aby nie robić hałasu, nim zadzwonię. To Franciszka nałożyła jej te reguły.

<sup>968</sup> *tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>969</sup> *George Sand*, właśc. *Armandine Aurore Lucille Dudevant* (1804–1876) — francuska pisarka epoki romanizmu; autorka wielu powieści, przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

Franciszka była z owych służących w stylu Combray, znających wartość swego pana i mających poczucie, że minimum ich obowiązku to pilnować, aby mu oddano to, co mu się w ich przekonaniu należy. Kiedy obcy gość dawał napiwek Franciszce do podziału z posługaczką, gość jeszcze nie miał czasu wręczyć monety, kiedy Franciszka, z równą chyżością, jak dyskrecją i energią, zdążyła udzielić lekcji tej dziewczynie, aby podziękowała nie półsłówkiem, ale szczerze, głośno, tak jak ją nauczyła. Proboszcz z Combray nie był orzeł, ale też wiedział, co się należy. Pod jego kierunkiem córka kuzynów pani Sazerat, protestantów, przeszła na katolicyzm, przy czym rodzina była dla księdza niesłychanie czuła: chodziło o małżeństwo z młodym ziemianinem z okolic Méséglise. Zasięgając informacji, rodzice młodego człowieka napisali do księdza list dość impertynencki, w którym potraktowano z partesu<sup>970</sup> protestanckie pochodzenie panny. Proboszcz odpowiedział takim tonem, że szlachcic z Méséglise, ukorzywszy się całkowicie, napisał zgola już inny list, w którym prosił jako o łaskę o to, aby mógł przyjąć do rodziny tę panienkę.

Franciszka nie miała w tym zasługi, że nauczyła Albertynę szanować mój sen. Była przepojona tradycją. Z milczenia jej lub ze stanowczej repliki na niewinną propozycję wejścia do mego pokoju lub spytania mnie o coś Albertyna pojęła ze zdumieniem, że się znalazła w dziwnym świecie o nieznanym zwyczajach wytyczonych przez niezłomne prawidła. Pierwsze przecucie tego miała już w Balbec, ale w Paryżu nie próbowała nawet się opierać: rano zachowywała ciszę, czekając cierpliwie dzwonka.

Wychowanie, jakiego jej udzieliła Franciszka, było zresztą zbawienne i dla niej samej, przez to, że uspokoiło nieco jęki, jakich od powrotu z Balbec nasza stara służąca nie przedstawiała wydawać. Chodziło o to, iż wsiadając do kolejki, spostrzegła, że zapomniała się pożegnać z „gubernantką” hotelu, wąsatą osobą, dozorującą korytarzy. Osoba ta zaledwie że знаła Franciszkę, ale była dla niej stosunkowo grzeczna. Franciszka chciała absolutnie zawrócić z drogi, wysiąść, wrócić, pożegnać się z „gubernantką” i wyjechać dopiero nazajutrz. Rozsądek, a zwłaszcza nagły wstręt do Balbec nie pozwoliły mi się zgodzić na to; stąd chorobliwe i nerwowe niezadowolenie Franciszki, którego nie zdołała w niej zatrzyć zmiana klimatu i które trwało jeszcze w Paryżu. Bo wedle kodeksu Franciszki, tego, który symbolizują płaskorzeźby w Saint-André-des-Champs, wolno pragnąć śmierci nieprzyjaciela, zadać mu ją nawet, ale straszne jest nie zrobić tego, „co się należy”, nie oddać grzeczności, nie pożegnać się przed wyjazdem — jak prawdziwa chamka! — z „gubernantką”. Przez całą podróż owo wciąż odnawiające się wspomnienie nietaktu okrywało policzki Franciszki niepokojącym pąsem. I jeżeli nie chciała nic jeść i pić aż do Paryża, to może nie tyle, aby nas ukarać, ale dlatego, że to wspomnienie „gnietło ją” dosłownie w „dolku”. Każda klasa ma swoją patologię.

Jedną z przyczyn sprawiających, że mama pisała do mnie co dzień (przy czym nigdy nie brakło cytatu z pani de Sévigné<sup>971</sup>), było wspomnienie babki. Mama pisała: „Pani Sazerat wyprawiła dla nas śniadanko, takie jak ona umie; jedno z tych, które — jakby powiedziała twoja biedna babka, cytując panią de Sévigné — »wyrrywają z samotności, nie przynosząc nam towarzystwa«. W jednej z pierwszych odpowiedzi napisałem głupio: „Po tych cytatach, mammo, twoja matka poznałaby cię zaraz”. Na co w trzy dni później dostałem tę odpowiedź: „Drogie dziecko, jeżeli chciałeś mówić o *mojej matce*, bardzo nie w porę powołujesz się na panią de Sévigné. Odpowiedziałaby ci, jak odpowiedziała pani de Grignan: »Więc ona ci była niczym? Sądziłam, że to była twoja krewna«”.

Słyszałem kroki Albertyny wychodzącej ze swego pokoju lub wracającej. Dzwoniłem, bo to była pora, kiedy Anna miała przybyć po Albertynę z szoferem, przyjacielem Morela, narajonym przez Verdurinów. Wspominałem mglisto Albertynie o możliwości naszego małżeństwa, ale nigdy nie uczyniłem tego formalnie; ona sama, kiedyś powiedział: „Nie wiem, ale może byłoby to możliwe”, przez delikatność potrząsnęła z melancholijnym uśmiechem głową, mówiąc: „Ale nie, nie byłoby możliwe”, co znaczyło: „Jestem za biedna”. I wciąż mówiąc o przyszłości, że „to wszystko jest jeszcze bardzo niepewne”, na razie robiłem wszystko, aby ją rozerwać, umilić jej życie, starając się — może nieświadomie — zbudzić w niej tym ochotę wyjścia za mnie. Śmiała się sama z tego zbytku. „Ależ matka

<sup>970</sup>partes (daw.) — partytura, nuty; traktować z partesu: z góry, z wyższością. [przypis edytorski]

<sup>971</sup>pani de Sévigné, właśc. Marie de Rabutin-Chantal, markiza de Sévigné (1626–1696) — autorka słynnych listów pisanych do córki, cenionych jako obraz obyczajów epoki. [przypis edytorski]

Anny zrobiłaby minę, widząc, że się wystrychnęła na damę bogatą jak ona, mającą — jak ona mówi — »konie, powozy, obrazy«. Jak to? Nigdy ci nie opowiadałam, że ona tak mówi? Och, to jest typ! Dziwi mnie tylko, że ona wynosi obrazy do godności koni i powozów”.

Ujrzymy później, że mimo głupiego słownictwa, jakie jej pozostało, Albertyna rozwinięła się zdumiewająco, co mi było zupełnie obojętne. Duchowe zalety towarzyski życia zawsze mało mnie interesowały; jeżeli je podkreślałem kiedykolwiek, to przez czystą grzeczność. Jedynie oryginalna umysłowość Franciszki bawiłaby mnie może. Mimo woli uśmiechałem się przez chwilę, kiedy na przykład, korzystając z tego, że Albertyny nie było w domu, zagadywała mnie tymi słowami: „Bóstwo niebiańskie<sup>972</sup> złożone na łóżku!”. Powiadałem: „Ależ, Franciszko, czemu bóstwo niebiańskie?”. — „Och, jeżeli pan myśli, że pan ma coś z ludzi pielgrzymujących na naszej brzydkiej ziemi, myli się pan bardzo”. — „Ale czemu »złożone« na łóżku, widzi Franciszka przecież, że leżę pod kołdrą”. — „Pan nigdy nie leży. Czy widział kto kiedy kogo, żeby tak leżał w łóżku? Pan przycupnął jak ptaszek. Ot, w tej chwili... ta piżama taka bieluśka, ta szyjka... istny gołąbek”.

Albertyna, nawet gdy chodziło o lada głupstwo, wyrażała się całkiem inaczej niż podlotek, jakim była jeszcze przed kilku laty w Balbec. Obecnie oświadczyła z powodu jakiegoś wydarzenia politycznego, które potępiała: „To doprawdy monstrualne”. I nie wiem, czy nie w tej epoce, chcąc powiedzieć, że jakaś książka wydaje się jej źle napisana, nauczyła się mówić: „Zajmujące, ale doprawdy *pisane jak nogą*”.

Zakaz wchodzenia do mnie, nim zadzwonię, bawił Albertynę bardzo. Że zaś przejęła nasz rodzinny nawyk cytatów i czerpała je ze sztuk, które grywała w klasztorze, a które ja lubiłem, porównywała mnie zawsze z Asuerusem<sup>973</sup>:

Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy  
Śmiałek, co niewołany stanie mu przed oczy.  
Nic od tego wyroku srogięgo nie chroni,  
Płeć ni godność; na równi prawo wszystkim broni  
Przystępu, i ja sama...  
Prawu temu podlegam tak jak każda inna...  
I aby doń przemówić w jakiej bądź potrzebie,  
Muszę czekać, aż wezwać raczy mnie do siebie.<sup>974</sup>

Fizycznie Albertyna zmieniała się również. Długie niebieskie oczy — jeszcze bardziej wydłużone — zmieniły wygląd; zachowały ten sam kolor, ale przeszły jak gdyby w stan płynny. Tak że kiedy je zamykała, miało się wrażenie, że to firankami zasłania się widok morza. I ten zwłaszcza szczegół, jak sądzę, pamiętałem, rozstając się z nią co noc. Bo na przykład, wręcz przeciwnie, przez długi czas jej falujące włosy sprawiały mi co rano niespodziankę, niby coś nowego, czego nigdy nie widziałem. A przecież cóż może być piękniejszego niż ten kędzierzawy wianek czarnych fiołków nad uśmiechniętym spojrzeniem młodej dziewczyny? Uśmiech ofiarowuje więcej przyjaźni, ale lśniące haczyki rozkwitłych włosów, bardziej zrosnięte z ciałem, będąc niejako jego falistą transpozycją, snadniej<sup>975</sup> łowią pragnienie.

Ledwo wszedłszy, Albertyna wskakiwała na łóżko; czasem rozplywała się nad moją inteligencją, przysięgała w szczerym zapale, że wolałaby raczej umrzeć niż mnie opuścić; były to dni, w których ogoliłem się, zanim kazałem ją wezwać. Była z liczby kobiet nieumiejących rozróżnić źródeł tego, co odczuwają. Przyjemność, jaką im sprawia gładka

<sup>972</sup>*Bóstwo niebiańskie*... — ten kwiecisty styl tak odskakuje od zwykłego stylu Franciszki, że raczej należałoby go chyba przypisać znajomej z Balbec, Celeście Albaret. Obie, Franciszka i Celesta, robione były z prawdziwych modeli, służących u Prousta, i widocznie zwały się tu w jedno. [przypis tłumacza]

<sup>973</sup>*Assuérus* (fr.), pol. *Achaszuerosz* a. *Ahasuer* — perski król z biblijnej *Księgi Estery*: na skutek intrygi najwyższego urzędnika, Hamana, wydał rozkaz zabicia wszystkich Żydów w państwie. Żona króla, Żydówka Estera, ryzykując śmiercią, poprosiła męża o zmianę decyzji. Król przyjął ją łaskawie, Hamana powieszono, a Żydzi ocaleli. Historię tę upamiętnia żydowskie święto Purim. [przypis edytorski]

<sup>974</sup>*Z jego rozkazu krwią się natychmiast ubroczy śmiałek*... — Racine, *Estera* (1689), akt I, scena 3 (Estera o królu Ahaswerze, w rozmowie ze swoim wujem i opiekunem Mordechajem). [przypis edytorski]

<sup>975</sup>*snadniej* (daw.) — łatwiej. [przypis edytorski]

cera, tłumacząc sobie duchowymi zaletami człowieka, który im wróży możliwości szczęścia, malejącego zresztą i mniej potrzebnego, w miarę jak broda odrasta.

Pytałem, dokąd się wybiera.

— Zdaje się, że Anna chce mnie zabrać do Buttes-Chaumont, których nie znam.

Oczywiście, niepodobna mi było rozpoznać wśród mnóstwa słów, czy pod tym kryje się kłamstwo. Ufałem zresztą Annie, że mi opowie dokładnie, gdzie była z Albertyną.

W Balbec, kiedyś się czułem nadto zmęczony Albertyną, marzyłem, że kiedyś powiem kłamliwie Annie: „Aniu złota, czemuż cię nie spotkałem wcześniej! Byłbym cię pokochał. Teraz serce moje należy do innej. Ale i tak możemy się często widywać, bo tamta moja miłość sprawia mi wiele zgryzot i ty mnie możesz pocieszyć”. Otóż te kłamliwe słowa stały się prawdą w ciągu trzech tygodni. Może Anna wierzyła w Paryżu, że to jest w istocie kłamstwo i że ją kocham, tak jak uwierzyłaby z pewnością w Balbec. Bo prawda tak się zmienia dla nas, że inni ledwo mogą się w niej wyznać. Ponieważ zaś wiedziałem, że Anna opowiedziałaby mi wszystko, prosiłem ją (i zgodziła się), aby wstępowała po Albertynę prawie co dzień. W ten sposób mógłbym bez troski zostawać w domu.

Fakt, że Anna jest jedną z „bandy” dziewcząt z Balbec, dawał mi wiarę, że uzyskalaby od Albertyny wszystko, czego bym zapragnął. Doprawdy, mógłbym jej teraz powiedzieć najszczerzej, że byłaby zdolna mnie uspokoić.

Z drugiej strony, wybór Anny (była teraz w Paryżu, poniechała zamierzonego powrotu do Balbec) na towarzyszkę, wynikał z tego, co mi Albertyna mówiła o czułości Anny dla mnie w Balbec, w pewnym momencie, gdy ja, przeciwnie, bałem się, że ją nudzę; gdybym był wówczas wiedział<sup>976</sup> o tym, byłbym może pokochał Annę.

— Jak to, nie wiedziałeś? — mówiła Albertyna. — Przecież wszystkie żartowałyśmy z tego. Zresztą, czyś nie zauważył, że ona zaczęła naśladować twój sposób mówienia, twój styl? Zwłaszcza kiedy świeżo się rozstała z tobą, to było uderzające. Nie potrzebowała mówić, że cię widziała. Kiedy przychodziła od ciebie, widać to było od pierwszej sekundy. Patrzyłyśmy po sobie i śmiałyśmy się. Była jak węglarz, który chciałby wmówić, że nie jest węglarzem, a jest cały czarny! Młynarz nie potrzebuje mówić, że jest młynarzem, jest na nim pełno mąki, ma jeszcze ślady worków, które nosił. Anna to samo; podnosiła brwi jak ty, a przy tym ta jej długa szyja, słowem, nie umiem ci powiedzieć co. Kiedy wezmę książkę, która była w twoim pokoju, mogę ją czytać na dworze, i tak wiadomo, że jest od ciebie, bo zachowuje zapach twoich paskudnych okadzań<sup>977</sup>. To niby nic, ale to *nic* jest w gruncie dosyć miłe. Ile razy ktoś mówił dobrze o tobie, kiedy ktoś robił wrażenie, że cię wysoko ceni, Anna była wniebowzięta.

Mimo wszystko, nie chcąc, aby coś mogły uplanować bez mojej wiedzy, poddałem, aby na ten dzień poniechały Buttes-Chaumont i aby się wybrały raczej do Saint-Cloud lub gdzie indziej.

To nie znaczyło (wiedziałem o tym), abym kochał bodaj trochę Albertynę. Miłość jest może jedynie rozchodzeniem się owych kręgów, które pod wpływem jakiegoś wzruszenia mącą duszę. Pewne kręgi poruszyły całego mnie, kiedy Albertyna powiedziała mi w Balbec o pannie Vinteuil, ale teraz się zatarły. Nie kochałem już Albertyny, bo nic już we mnie nie zostało z cierpienia — uleczonego obecnie — które odczułem w kolejce w Balbec, dowiadując się, jaka była młodość Albertyny, z możliwością wizyt w Montjouvain. O tym wszystkim myślałem zbyt długo, z tego byłem uleczony. Ale chwilami coś w sposobie mówienia Albertyny kazało mi przypuszczać — nie wiem czemu — że musiała w swoim jeszcze tak krótkim życiu słuchać wielu komplementów, oświadczeń, i słuchać ich z przyjemnością, można powiedzieć, zmysłową. Tak na przykład mówiła z byle jakiego powodu: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Gdyby powiedziała tak jak Odeta: „Szczerze mówisz to potworne kłamstwo?”, to by mnie z pewnością nie niepokoiło, bo śmieszność tego zwrotu tłumaczyłaby się miałością kobiecego mózgu. Ale jej pytający ton: „Naprawdę?” sprawiał z jednej strony dziwne wrażenie istoty, która nie może sobie sama zdać z czegoś sprawy, która apeluje do czyjegoś świadectwa, tak jakby nie posiadała tych samych sprawdzianów (kiedy jej ktoś na przykład mówił: „Będzie już godzina,

<sup>976</sup>gdybym był wówczas wiedział — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdybym wówczas wiedział. [przypis edytorski]

<sup>977</sup>okadzania — zabieg z przepisu lekarzy, stosowany przez samego Prousta przeciw astmie. [przypis tłumacza]

jakeśmy wyjechali” albo: „Deszcz pada”, pytała się: „Naprawdę?”). Na nieszczęście, z drugiej strony, niemożność ocenienia danego zjawiska nie musiała być prawdziwym źródłem owego: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”. Zdawałoby się raczej, że te słowa musiały być od wczesnej dojrzałości Albertyny odpowiedzią na: „Wie pani, nie widziałem osoby tak pięknej jak pani”; „Pani wie, ja panią bardzo kocham, pani na mnie straszliwie działa”. Twierdzenia, którym odpowiadały z zalotnie przychylną skromnością owe: „Naprawdę? Całkiem naprawdę?”, ze mną służące Albertynie już tylko dla odpowiadania pytaniem na słowa takie jak: „Drzemałaś więcej niż godzinę”. — „Naprawdę?”.

Nie czując się ani trochę zakochany w Albertynie, nie licząc do przyjemności chwil, gdy byliśmy razem, wciąż głowiłem się, jak ona spędza czas; to fakt, iż uciekłem z Balbec, aby być pewny, że nie będzie mogła już spotkać jakiejś osoby, z którą mogłaby czynić coś złego, śmiejąc się, może śmiejąc się ze mnie. Tak bardzo się tego bałem, że starałem się zrećnie przeciąć swoim wyjazdem, za jednym zamachem, wszystkie jej podejrzane stosunki. I Albertyna miała tyle bierności, taką łatwość zapominania i poddawania się, że owe stosunki były naprawdę zerwane, a moja obsesja uleczona. Ale ta fobia może przybierać tyle form, ile ich ma niepochwytne zło będące jej przedmiotem. Dopóki zazdrość moja nie wcieliła się w nowe istoty, miałem po swoich minionych cierpieniach okres spokoju. Ale chronicznej chorobie lada pozór wystarczy do odnowienia się; podobnie narowom osoby będącej źródłem tej zazdrości lada sposobność wystarczy na to, aby je zaczęła uprawiać na nowo (po okresie wstrzemięźliwości) z innymi osobnikami. Mogłem oderwać Albertynę od jej współpracowników i przez to odczynić złe uroki; ale o ile można było zatrzeć w jej pamięci jakąś osobę, przerwać jej zapęły, żądza rozkoszy była u Albertyny również chroniczna i czekała może tylko okazji, aby sobie dać folgę<sup>978</sup>. Otóż Paryż dostarcza okazji tyleż co Balbec.

W jakim bądź mieście działałoby się to zresztą, Albertyna nie potrzebowała szukać, bo zło było nie tylko w niej, ale w innych, dla których wszelka sposobność jest dobra. Spojrzenie jednej, natychmiast zrozumiane przez drugą, zbliża do siebie dwie wygłodniałe istoty. I jakże łatwo sprytniej kobiecie udać, że nic nie widzi, aby w pięć minut później podejść do osoby, która zrozumiałwszy, czekała na nią w przecznicy. W dwóch słowach umówią schadzkę. Kto się kiedy dowie? I aby to mogło trwać, Albertyna potrzebowała po prostu powiedzieć mi, że pragnie przejechać się znów w jakąś okolicę Paryża, która się jej spodobała. Toteż wystarczyło, aby wróciła późno, aby zwłoka jej była dla mnie niezrozumiała (choć może bardzo łatwa do wytłumaczenia bez żadnej erotycznej hipotezy), żeby się odrodziło moje cierpienie. Kojarzyło się ono z obrazami niezwiązanymi już z Balbec, obrazami, które sililem się, jak owe poprzednie, zniweczyć: jak gdyby usunięcie przemijającej przyczyny mogło pokonać organiczną chorobę! Nie zdawałem sobie sprawy, że tymi zamachami, które wspomagała zmienność Albertyny, zdolność zapominania — prawie zniechęcenia — niedawnego przedmiotu miłości, mogłem zadać głęboki ból jakiejś nieznanej istocie, partnerce jej rozkoszy; i zadawałem ten ból daremnie, bo w miejsce tych porzuconych istot znalazłyby się inne; i równoległe z drogą znaczoną tyłoma tak lekko zrywanymi kaprysmi Albertyny ciągnęłaby się dla mnie inna nieubłagana droga, zaledwie przerywana krótkimi wytchnieniami; tak iż, biorąc logicznie, męka moja mogłaby się skończyć jedynie wraz z Albertyną lub ze mną.

W pierwszym okresie naszego pobytu w Paryżu relacje Anny i sfera tyżące spacerów Albertyny nie zaspokajały mnie; okolice Paryża były mi czymś nie mniej okrutnym niż okolice Balbec; zatem wyjechałem na kilka dni z Albertyną. Ale wszędzie towarzyszyła mi ta sama niepewność: możliwości złego równie liczne, dozór jeszcze trudniejszy, tak że wróciłem z nią do Paryża. Opuszczając Balbec, sądziłem, że opuszczam Gomorę, że wyrrywam z niej Albertynę; niestety, Gomora czała się po wszystkich kątach świata. I wół przez zazdrość, wół przez nieznaną tych uciech (wypadek nader rzadki) unormowałem bezwiednie tę ciuciubabkę, w której Albertyna miała mi się zawsze wymykać.

Pytałem zniechęca:

<sup>978</sup>*folga* (daw.) — ulga, odpoczynek; pobłażanie; *dać sobie folgę*: folgować sobie, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

— A! Słuchaj no, Albertyno, czy mi się coś marzy, czy też wspominałaś, żeś znała Gilbertę Swann?

— Tak, to znaczy ona odezwała się do mnie raz na kursach, bo miała kajety<sup>979</sup> historii francuskiej, była nawet bardzo miła, pożyczała mi tych kajetów i oddałam je za najbliższym widzeniem.

— Czy ona jest z rodzaju kobiet, których nie lubię?

— Och! Wcale nie, wręcz przeciwnie.

Ale najczęściej, zamiast się oddawać tego rodzaju śledztwu, obracałem na planowanie spacerów Albertyny energią, której nie zużywałem na to, aby jej towarzyszyć, i rozprawiłem o nich z zapalem typowym dla niewykonanych projektów. Wrażałem taką chęć obejrzenia witrażu w Sainte-Chapelle, taki żal, że nie mogę tego zrobić tylko z samą Albertyną, że w końcu mówiła czule: „Ależ, kochanie, skoro masz taką ochotę, przemóż się, pojedź z nami. Zaczekamy na ciebie tak długo, jak zechcesz. A jeżeli wolisz być ze mną sam, odeślę po prostu Annę, wybierze się kiedy indziej”. Ale właśnie te prośby, aby z nią jechać, pogłębiały spokój, który mi pozwalał poddać się chęci zostania w domu.

Nie zastanawiałem się, że apatia, z jaką powierzałem Albertynę Annie lub szoferowi, zdając na nich ukojenie moich lęków, porażała we mnie, ubezwładniała wszystkie owe pomysłowe drgnienia inteligencji, owe natchnienia woli pomagające odgadnąć i udaremnić postępkę danej osoby; to pewne, iż przy moim charakterze świat możliwości był mi zawsze bardziej otwarty niż realny świat urzeczywistnień. To ułatwia ogólne poznanie duszy, ale nie chroni w poszczególnym wypadku. Zazdrość moja i jej męki rozdziły się z obrazów, a nie z przypuszczeń. Otóż w życiu ludzi i w życiu narodów mogą być chwile (i taka chwila miała przyjść w moim życiu), że człowiek potrzebowałby mieć w sobie prefekta policji, bystrego dyplomata, tajnego agenta, który zamiast roić o bezkresnych możliwościach skupia się i powiada: „Jeżeli Niemcy oświadczają to a to, to znaczy, że chcą zrobić coś innego; nie coś innego w abstrakcji, ale ściśle to lub tamto, co może się już nawet zaczęło”. — „Jeżeli dana osoba uciekła, to nie w kierunku A, B, D, ale w kierunku C; miejscem tedy, gdzie trzeba skupić poszukiwania, jest C”. Niestety, tej zdolności, niezbyt we mnie rozwiniętej, pozwoliłem odrętwieć, osłabnąć, zaniknąć, nawykłszy pogrążyć się w spokoju, z chwilą gdy ktoś inny godził się czuwać za mnie.

Co się tyczy powodów owej chęci pozostania w domu, nierad byłbym wyznać je Albertynie. Powiadałem, że lekarz kazał mi leżeć. To nie była prawda. A gdyby nawet tak było, przepisy lekarza nie przeszkodziłyby mi towarzyszyć Albertynie. Wypraszałem się od jechania z nią i z Anną. Podam tylko jedną rację, wspierającą się na rozsądku. Kiedym towarzyszył Albertynie, czułem się niespokojny, skoro na chwilę została beze mnie; obrażałem sobie, że może z kimś rozmawiała lub bodaj spojrzała na kogoś. Jeżeli nie była w świetnym humorze, myślałem zaraz, że m popsuł lub opóźnił jakiś jej projekt. Rzeczywistość jest zawsze tylko przynętą dla Nieznanego, którego śladem nie możemy zejść bardzo daleko. Lepiej nie wiedzieć, myśleć możliwie najmniej, nie dostarczać zazdrości żadnego konkretnego szczegółu. Niestety, w braku życia zewnętrznego życie wewnętrzne również nastęrcza okazje; i bez spacerów Albertyny przypadki napotykanne we własnych refleksjach dostarczały mi ułamków rzeczywistości, przyciągających do siebie niby magnes trochę owego Nieznanego, które z tą chwilą stają się bolesne. Choćbyśmy żyli jak pod pneumatycznym kloaszem, i tak skojarzenia, wspomnienia działają. Ale te wewnętrzne wstrząsy nie następowały zaraz; ledwie Albertyna wyszła, czułem się skrzepiony bodaj na kilka chwil ożywym działaniem samotności.

Brałem udział w rozkoszach rodzącego się dnia; obudzone pragnienie — kapryśna i czysto moja zachcianka — kosztowania ich nie wystarczyłoby, aby je zbliżyć do mnie, gdyby swoista pogoda każdego dnia nie wywoływała we mnie minionych obrazów; co więcej, stwierdzała ona ową doraźną realność, bezpośrednio dostępną wszystkim tym, których przypadkowe i tym samym nieważne okoliczności nie zmuszały do zostania w domu. W pewne pogodne dni było tak zimno, odczuwało się tak szeroką styczność z ulicą, jak gdyby się rozwarły ściany domu: ilekroć przejeżdżał tramwaj, dzwonek jego rozbrzmiewał tak, jakby srebrny nóż uderzał w szklany dom. Ale zwłaszcza w sobie słyzałem z upojeniem nowy dźwięk, wydawany przez skrzypce duszy. Struny ich napina

<sup>979</sup>kajet (daw.) — zeszyt. [przypis edytorski]

lub zwalnia prosta różnica ulicznej temperatury, światła. W naszej istocie, instrumencie oniemionym przez jednostajność przyzwyczajenia, śpiew rodzi się z tych odstępów, z tych wariacji, źródła wszelkiej muzyki; aura pewnych dni przerzuca nas od razu z jednej nuty w drugą. Odnajdujemy zapomnianą melodię, której matematyczną konieczność moglibyśmy odgadnąć, a którą zrazu śpiewamy, nie znając jej. Jedynie te zmiany wewnętrzne, mimo że pochodzące spoza mnie, odnawiały dla mnie zewnętrzny świat. Jakieś od dawna zamurowane drzwi otwierały się w moim mózgu. Życie jakichś miast, wesołość jakichś spacerów odzyskiwały we mnie miejsce. Drząc cały dookoła wibrującej struny, oddałbym za ten tak niezwykły stan moje szare życie dawniejsze i moje przyszłe życie, wytarte gumą przyzwyczajenia.

Kiedy nie wybrałem się z Albertyną na dłuższy spacer, duch mój wałęsał się tym bardziej: wyrzekłszy się kosztowania zmysłami owego poranka, cieszyłem się w wyobraźni wszystkimi podobnymi rankami — minionymi lub możliwymi — ściślej mówiąc, pewnym typem poranków, którego wszystkie podobne ranki były jedynie przygodnym i rychło przeze mnie utożsamionym odbiciem; chłodne powietrze samo z siebie obracało właściwe stronicie: znajdowałem przed sobą ewangelię dnia, tak iż mogłem ją odczytać z łóżka. Ów idealny poranek wypełniał mój umysł trwałą rzeczywistością, tożsamą ze wszystkimi podobnymi rankami, i udzielał mi radości, której nie zmniejszała moja niemoc. Dobre samopoczucie rodzi się w nas nie tyle ze zdrowia, ile z niezużytej nadwyżki sił: możemy je osiągnąć zarówno przez wzmożenie sił, jak przez ograniczenie czynności. Energia, którą kipiałem i którą utrzymywałem w stanie potencjalnym, leżąc w łóżku, sprawiała, żem drgał i podskakiwał wewnątrz, niby machina, która nie mogąc zmienić miejsca, kręci się dookoła swej osi.

Franciszka przychodziła rozpalić ogień; iżby lepiej chwycił, rzucała kilka gałązek, których zapach, zapomniany przez całe lato, opisywał dokoła kominka magiczny krąg. Oglądałem w tym kręgu samego siebie czytającego to w Combray, to w Doncieres i, siedząc w swoim pokoju w Paryżu, czułem się równie radosny, co gdybym się właśnie wybierał na spacer w stronę Méséglise lub odnalazł Roberta i jego przyjaciół na ćwiczeniach w polu. Właściwa wszystkim ludziom przyjemność odnajdywania wspomnień zamagazynowanych przez pamięć najżywsza bywa u tych, których z jednej strony przemoc fizycznych cierpienie oraz codzienna nadzieja wyzdrowienia pozbawiają szukania w naturze obrazów pokrewnych tym wspomnieniom, z drugiej zaś strony zostawiają nieco wiary, że zdolają to niebawem uczynić. Dzięki tej wierze zachowują w stosunku do owych obrazów uczucie pragnienia, apetytu, nie patrzą na nie jedynie jak na wspomnienia, jak na obrazy. Ale gdyby nawet obrazy te miały być dla mnie zawsze tylko obrazami i gdybym, przypominając je sobie, miał je tylko oglądać, i tak odtwarzały one nagle we mnie, z całego mnie, mocą identycznego wrażenia, dziecko, młodzieńca, którzy je widzieli. Zachodziła nie tylko zmiana pogody lub zapachu w pokoju, ale różnica wieku, substytucja osoby. Zapach gałązek w mroźnym powietrzu był niby kawał przeszłości; wylaniała się w moim pokoju niewidzialna ławica lodowa oderwana od dawnej zimy, często zresztą nasycona jakimś zapachem, oświetleniem, niby odmiennymi latami, w których, zanim je nawet uświadomiłem sobie, zanurzałem się ogarnięty weselem od dawna porzuconych nadziei. Słońce docierało do łóżka, przebywało przejrzystą ściankę mego wychudłego ciała, grzało mnie, rozpalało mnie jak kryształ. Wówczas, niby zgłodniały rekonwalescent, sycący się z góry wszystkimi zabronionymi jeszcze potrawami, zastanawiałem się, czy małżeństwo z Albertyną nie zepsułoby mojego życia, każąc mi podjąć zbyt ciężkie dla mnie brzemię poświęcenia się drugiej istocie, a zarazem zmuszając mnie do życia poza samym sobą wskutek ustawicznej obecności Albertyny i pozbawiając mnie na zawsze rozkoszy samotności.

I nie tylko tych rozkoszy. Nawet kiedy żądamy od dnia jedynie pragnień, istnieją pewne pragnienia — zrodzone już nie z rzeczy, ale z osób — których cechą jest to, że są indywidualne. Jeżeli wstając z łóżka, rozsuwałem na chwilę firanki, czyniłem to nie tylko — tak jak muzyk otwiera na chwilę fortepian — aby sprawdzić, czy na balkonie i na ulicy słońce ma ściśle tę samą tonację co w moim wspomnieniu; czyniłem to także po to, aby ujrzeć jakąś praczkę niosącą kosz z bielizną, piekarkę w błękitnym fartuchu, mleczarkę z białymi płóciennymi rękawami, przytrzymującą hak, na którym wiszą bańki

z mlekiem, jakąś hardą blondynkę w towarzystwie guwernantki, słowem, obraz, który różnice linii — ilościowo może nieznaczne — mogą uczynić tak odmiennym od wszelkiego innego obrazu, jak różnica dwóch nut zmienia muzyczną frazę; brak tego widoku pozbawiłby dzień celów, jakie mógł następczać mojej żądzy szczęścia. Ale jeżeli nadwyżka radości, zrodzona z widoku kobiet niepodobnych do wyobrażenia sobie *a priori*<sup>980</sup>, czyniła mi ulicę, miasto, świat bardziej upragnionymi, godniejszymi zwiedzenia, budziła ona we mnie zarazem żądę wyzdrowienia, wychodzenia z domu, wolności — bez Albertyny. Ileż razy, w chwili gdy nieznaną kobietą, o której miałem marzyć, mijala dom, to pieszo, to całą chyżością auta, cierpiałem, że ciało moje nie może podążyć za spojrzeniem, które ją doganiało; że nie może, dosięgając jej niby wystrzelone z rusznicy przez okno, zatrzymać pierzchającej twarzy zwiastującej mi nadzieję szczęścia, którego, uwięziony jak teraz, nie zaznałbym nigdy.

Za to od Albertyny niczego się już nie mogłem spodziewać. Z każdym dniem wydała mi się mniej ładna. Dodawało jej uroku jedynie pragnienie, jakie budziła w innych, kiedy dowiadując się o tym pragnieniu, zaczynałem na nowo cierpieć i chciałem im ją wydrzeć. Mogła mi sprawić ból; dać radości — nie. Jedynie samym cierpieniem trwało moje nudne przywiązanie. Gdy cierpienie ustępowało, a wraz z nim potrzeba ukojenia go, wiążąca całą moją uwagę niby okrutna rozrywka, czułem nicość, jaką Albertyna jest dla mnie, jaką ja muszę być dla niej. Byłem nieszczęśliwy, że ten stan trwa; chwilami pragnąłem dowiedzieć się o niej czegoś okropnego, czegoś, co by mogło nas poróżnić, co by nam się pozwoliło pogodzić i uczynić odmiennym i podatniejszym łańcuch, który nas łączył — aż do chwili mego uleczenia.

Na razie szukałem pomocy tysiąca okoliczności, tysiąca uciech, aby dostarczyły Albertynie złudy owego szczęścia ze mną, którego nie byłem zdolny jej dać. Byłbym chciał natychmiast po wyzdrowieniu pojechać do Wenecji; ale jak to zrobić, gdybym się ożenił z Albertyną? Już w Paryżu byłem o nią tak zazdrosny, że kiedyś się decydowałem ruszyć z domu, to tylko po to, aby jej towarzyszyć! Nawet kiedyś zostawałem całe popołudnie w domu, a ona jechała na spacer, myśl moja towarzyszyła jej, opisywała daleki siny widnokrąg, stwarzała dokoła mnie ruchomą i mglistą strefę niepewności. „Iluż mąk rozstania — powiadałem sobie — oszczędziłaby mi Albertyna, gdyby widząc, że już nie wspominam o małżeństwie, zdecydowała się kiedyś nie wrócić ze spaceru, gdyby pojechała na dobre do ciotki, tak abyśmy się nie musieli żegnać!” Serce moje, od czasu jak się jego rana zablizniała, nie było już zrośnięte z sercem Albertyny; mogłem ją w wyobraźni przesuwając, oddalać bez bólu. Gdyby nie wyszła za mnie, wyszłaby pewnie za innego, a gdyby została wolna, miałaby może owe miłostki, którymi się tak brzydziłem. Ale było tak ładnie, byłem tak pewny, że Albertyna wróci wieczorem, że nawet jeżeli ta myśl o jej możliwych wybrykach przychodziła mi do głowy, mogłem przez akt woli uwięzić Albertynę w partii mojego mózgu, gdzie by miała nie więcej znaczenia, niżby go dla mego realnego życia miały przywary urojonej osoby; poruszając uelastycznione zawiasy swojej myśli, z energią, jaką czułem w głowie — energią fizyczną i umysłową niby ruch mięśniowy i inicjatywę duchową — przezwyciężyłem obsesję, w której żyłem dotąd. Zaczynałem się poruszać w wolnym powietrzu, na wysokości, z której poświęcenie wszystkiego na to, aby zapobiec małżeństwu Albertyny z kimś innym i aby wznieść zaporę jej skłonności do kobiet, zdawało mi się czymś równie niedorzecznym, jak byłoby niedorzeczne w oczach człowieka, który by jej nie znał.

Zresztą zazdrość należy do owych napadowych chorób, których przyczyna jest kapryśna, despotyczna, zawsze identyczna u tego samego chorego, czasem zupełnie różna u innego. Jedni astmatycy uśmierzają atak, otwierając okna, wdychając silny wiatr, górskie powietrze; inni, chroniąc się w centrum miasta, w pokój pełen dymu. Nie ma prawie zazdrośników, których zazdrość nie dopuszczałaby jakiegoś ustępstwa. Jeden godzi się ze zdradą, byle mu ją kobieta wyznała; inny, byle mu ją ukryła; ostatecznie jedno warto jest drugiego, o ile bowiem jeden zazdrośnik bardziej jest oszukany przez to, że mu się kryje prawdę, drugi szuka w tej prawdzie pokarmu, spotęgowania, odnowy swoich cierpień.

Co więcej, te dwie odwrotne manie zazdrości wybiegają często poza słowa, czy to błagając o zwierzenia, czy też odtrącając je. Spotyka się mężczyzn zazdrosnych jedynie

<sup>980</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]



o kobiety, z którymi ich kochanka ma stosunki z dala od nich, ale godzących się na to, aby się oddawała innemu mężczyźnie, byle z ich upoważnieniem, blisko nich i o ile zgoła nie w ich oczach, to bodaj pod ich dachem. Ten wypadek dość częsty jest u mężczyzn starszych, zakochanych w młodej kobiecie. Czują trudność podobania się, czasem niemożność zaspokojenia jej; w obawie zdrady wolą pozwolić odwiedzać ją u siebie w domu, w sąsiednim pokoju, komuś, kto — jak sądzą — niezdolny jest dawać jej złych rad, ale zdolny jest dać jej rozkosz. Inni wręcz przeciwnie: nie pozwalając kochance wyjść ani na minutę samej w mieście, które znają, trzymają ją w istnej niewoli; ale pozwalają jej jechać na miesiąc w strony, których nie znają, gdzie nie mogą sobie wyobrazić, co ona będzie robiła. Miałem w stosunku do Albertyny obie te kojące manie. Nie byłbym zazdrosny, gdyby zażywała rozkoszy uprawnionych przeze mnie, w moim pobliżu, całkowicie pod moim dozorem, przez co oszczędziłbym sobie obawy kłamstwa; i również nie byłbym może zazdrosny, gdyby pojechała w strony na tyle mi nieznane i odległe, żebym sobie nie mógł wyobrazić jej sposobu życia, nie miał możliwości i pokusy poznania go. W obu wypadkach doskonała świadomość lub doskonała niewiedza usunęłyby wątplenie.

Zapadający zmierzch zanurzał mnie siłą wspomnienia w dawnej i ożywczej atmosferze: wdychałem ją z tą samą rozkoszą, z jaką Orfeusz<sup>981</sup> wdycha lekkie, nieznane tej ziemi powietrze Pól Elizejskich<sup>982</sup>.

Ale już dzień się kończył, ogarniał mnie smutek wieczoru. Sprawdzając machinalnie na zegarze, ile jest godzin do powrotu Albertyny, widziałem, że mam jeszcze czas ubrać się i zejść, aby poprosić właścicielkę domu, panią de Guermites, o wskazówki dotyczące wykwintnych fatalaszków, którymi chciałem obdarzyć moją przyjaciółkę. Czasem spotykałem księżnę w dziedzińcu, wychodzącą pieszo — nawet kiedy było brzydko — w małym kapelusiku i w futrze. Wiedziałem, że dla wielu inteligentnych ludzi jest ona po prostu jakąś panią; nazwisko diuszesy de Guermites nie znaczy teraz nic, skoro diukostwa i księstwa nie istnieją; ale miałem inny punkt widzenia w swoim sposobie zażywania osób i krajów. Miałem wrażenie, że ta dama w futrze, urągająca niepokodzie, nosi z sobą wszystkie zamki dóbr, których jest diuszesa, princessą, wikomtessą, tak jak osoby wyrzeźbione na oczepie<sup>983</sup> portalu trzymają w ręce katedrę, którą zbudowały, lub miasto, które obroniły. Ale jedynie oczy mojej duszy mogły widzieć owe zamki, owe lasy w lewej ręce damy w futrach, kuzynki króla. W dni, kiedy groził deszcz, oczy mojego ciała rozróżniały jedynie parasol, w który księżna nie lękała się uzbroić. „Nie można nigdy wiedzieć; zawsze to bezpieczniej, w razie gdybym się znalazła bardzo daleko, a fiakier<sup>984</sup> żądałby za drogę jak dla mnie”. Słowa „za drogę”, „przechodzące moje środki” powracały wciąż w rozmowie księżnej, zarówno jak: „Jestem za biedna”; przy czym nie wiadomo było, czy ją bawi mówić, że jest biedna, będąc tak bogatą, czy że uważa za wytworne, będąc tak wysoko urodzoną, a zarazem udając wieśniaczkę, nie przywiązując do bogactwa wagi, jaką przywiązują do niego ludzie jedynie bogaci i gardzący ubogimi. Może to był raczej nawyk z epoki, kiedy — już bogata, ale nie dość bogata w stosunku do kosztu utrzymania tylu posiadłości — czuła się nieco kuso z pieniędzmi i nie chciała robić wrażenia, że to ukrywa. Rzeczy, o których się mówi najczęściej, żartując, to są na ogół właśnie rzeczy, które sprawiają kłopoty; nie przyznajemy się do tych kłopotów, może z tajoną nadzieją, że właśnie osoba, z którą się rozmawia, słysząc, że sobie żartujemy z tego, pomyśli, że to nieprawda.

Wiedziałem, że o tej godzinie przeważnie zastanę księżnę w domu; byłem rad z tego, bo w ten sposób najłatwiej mogłem poprosić o obszerniejsze wskazówki, których pragnęła Albertyna. Szedłem tam, prawie nie myśląc, jakie to jest niesłychane, że idę do owej tajemnicznej pani de Guermites mego dzieciństwa, i jedynie po to, aby jej użyć po prostu, tak jak się używa telefonu, nadprzyrodzonego instrumentu, którego cud zdumie-

<sup>981</sup> *Orfeusz* (mit. gr.) — muzyk, poeta i pieśniarz, który śpiewem swoim poskramiał dzikie zwierzęta i ożywił martwe przedmioty. Zszedł do Hadesu po swą zmarłą żonę Eurydykę i oczarował swoim śpiewem władcę krainy zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>982</sup> *Pola Elizejskie* (mit. gr.) — kraina wiecznego spokoju i pośmiertnej szczęśliwości, stanowiąca część Hadesu; zmarli trafiali tam w nagrodę za dobre życie. [przypis edytorski]

<sup>983</sup> *oczep* — tu: nadproże, belka nad drzwiami lub oknem. [przypis edytorski]

<sup>984</sup> *fiakier* — dorożkarz. [przypis edytorski]

wał nas niegdyś, a którym posługujemy się teraz automatycznie dla sprowadzenia krawca lub zamówienia lodów.

Fatałaszki sprawiały Albertynie wielką przyjemność. Nie umiałem się powstrzymać, aby jej co dnia nie ofiarować czegoś. I za każdym razem kiedy mówiła z zachwytem o jakiejś szarfie, etoli, parasolce, które przez okno lub mijając dziedziniec, oczami różniącymi tak szybko wszystkie odcienie elegancji, ujrzała na szyi, na ramionach lub w ręce pani de Guermantes, wiedząc, że trudnego z natury gustu Albertyny (wydelikaczonego jeszcze lekcjami elegancji, czerpanymi z nauk Elstira) nie zadowoliliby jakaś imitacja, nawet ładnej rzeczy, zastępująca ją w oczach pospólstwa, ale różniąca się od niej całkowicie, zachodziłem w sekrecie, aby wypytać księżnę, gdzie, jak, z jakiego modelu było sporządzone to, co się podobało Albertynie, dokąd należy się zwrócić, aby uzyskać ściśle to samo; na czym polega sekret krawca, elegancja (Albertyna nazywała to „szyk”, „styl”) wykonania, jak się dokładnie nazywa materia — piękność materiału miała tu swoje znaczenie — której należało żądać.

Kiedy po przyjeździe z Balbec powiedziałem Albertynie, że księżna de Guermantes mieszka na wprost nas, w tym samym pałacu, wówczas, słysząc ten wielki tytuł i wielkie nazwisko, przybrała minę bardziej niż obojętną, wrogą, wzgardliwą, u hardych i namiętych natur będącą znakiem bezsilnego pragnienia. Albertyna to była wprawdzie wspaniała natura, ale utajone jej przymioty mogły się rozwijać jedynie pośród tych zapór, jakimi są nasze upodobania lub żaloba po upodobaniach, z których trzeba nam było zrezygnować — jak dla Albertyny snobizm. Żaloba ta zowie się nienawiścią. Nienawiść Albertyny do „świata” zajmowała w niej zresztą bardzo mało miejsca i podobała mi się przez swoją stronę rewolucyjną — mam na myśli nieszczęśliwą miłość do szlachty — wypisaną w charakterze francuskim na odwrotnej stronie medalu, drugą stroną wyrażającego wielkopaństwo pani de Guermantes. O to wielkopaństwo, nie mogąc go osiągnąć, Albertyna nie troszczyłaby się może; że jednak przypominała sobie, iż Elstir mówił o księżnej de Guermantes jak o kobiecie najlepiej ubierającej się w Paryżu, republikańska wzgarda Albertyny ustąpiła miejsca żywemu zainteresowaniu się elegantką. Wypytywała mnie często o panią de Guermantes i lubiła, żebym zasięgał dla niej u księżnej porad toaletowych. Bez wątpienia, mógłbym prosić o te rady panią Swann; raz nawet napisałem do niej w tym celu. Ale pani de Guermantes (miałem to wrażenie) jeszcze dalej doprowadziła sztukę ubierania się. Jeżeli zachodząc tam na chwilę (upewniwszy się, że nie wyszła, i kazawszy się uprzedzić, kiedy Albertyna wróci), zastawałem księżnę spowitą w mgłę szarej krepdeszynowej<sup>985</sup> sukni, pojmowałem, że ten strój jest wypadkową skomplikowanych przyczyn i że nic by się w nim nie dało zmienić; zanurzałem się w atmosferę, którą wydzielał, niby schyłek dni wyścielonych perłowszarą watą przez mgliste opary; jeżeli przeciwnie, szlafroczek był chiński w żółto-czerwone płomienie, patrzyłem nań jak na rozpalający się zachód słońca; owe toalety nie były przygodną dekoracją dającą się zmienić do woli, ale ścisłą i poetycką realnością, jak realność pogody w danym dniu lub światło właściwe pewnej godzinie.

Ze wszystkich sukien lub szlafroczków pani de Guermantes najbardziej zdawały się odpowiadać pewnej intencji, najwięcej specjalnej myśli posiadały suknie, które Fortuny stworzył wedle dawnych weneckich wzorów. Historyczny charakter tych sukien, a może fakt, że każda z nich jest jedyna, dają im coś tak odrębnego, że poza kobiety, która je nosi, czekając na nas, rozmawiając z nami, nabiera wyjątkowej ważności; rzekłbyś, że ten kostium jest owocem długiego namysłu i że ta rozmowa odcina się od potocznego życia niby scena romansu. W powieściach Balzaca heroiny kładą z umysłu pewną toaletę w dniu, kiedy oczekują pewnego gościa. Dzisiejsze toalety nie mają tyle charakteru — wyjąwszy suknie Fortuny’ego. Nic nie może pozostać mgliste w opisie powieściopisarza, skoro ta suknia istnieje rzeczywiście, skoro najdrobniejszy jej wzór utrwalony jest równie naturalnie jak linie dzieła sztuki. Przed włożeniem tej czy innej sukni kobieta musiała wybrać między dwiema, i to nie dwiema podobnymi do siebie, ale głęboko indywidualnymi, mogącymi nieomal nosić imiona.

<sup>985</sup>*krepdeszynowy* — wykonany z krepdeszyny: miękkiej, lekkiej tkaniny jedwabnej, stanowiącej rodzaj krepdy. [przypis edytorski]

Ale suknia nie przeszkadzała mi myśleć o kobiecie. Pani de Guermantes wydawała mi się nawet w tej epoce miłsza niż w czasie, gdy się w niej jeszcze kochałem. Mniej od niej oczekując (nie chodziłem już tam dla niej samej), słuchałem jej niemal ze spokojną bezceremonialnością, jaką się ma u siebie w domu, grzejąc się przy kominku; słuchałem jej tak, jakbym czytał książkę pisaną starym językiem. Miałem dość swobody ducha, aby w tym, co mówiła, smakować ów francuski i tak czysty wdzięk, którego się już dziś nie spotyka w mowie ani w książkach. Słuchałem jej rozmowy niby czysto i rozkosznie francuskiej ludowej piosenki; rozumiałem, że mogła sobie niegdyś żartować z Maeterlincka<sup>986</sup> (podziwiała go zresztą teraz przez płytkość kobiety wrażliwej na owe mody literackie, których promienie dochodzą późno), tak jak rozumiałem, że Mérimée drwił sobie z Baudelaire'a, Stendhal z Balzaca, Paul Louis Courier z Wiktora Hugo, Meilhac z Mallarmégo<sup>987</sup>. Rozumiałem, że żartowniś posiadał w porównaniu z tym, z kogo żartował, umysłowość bardzo ograniczoną, ale za to słownik czystszy. Słownik pani de Guermantes — prawie w tym stopniu co język matki Roberta — był zachwycająco czysty. Nie w zimnych fałszyfkatach dzisiejszych pisarzy, operujących archaizmami od siedmiu boleści, można odnaleźć stary język i prawdziwą wymowę, ale rozmawiając z panią de Guermantes lub z Franciszką; mając pięć lat, nauczyłem się od Franciszki, że nie mówi się „le Tarn”, ale „le Tar”, nie „Béarn”, ale „Béar”. Co sprawiło, że w dwudziestym roku życia, kiedy zacząłem być w świecie, nie musiałem się uczyć, że nie trzeba mówić jak pani Bontemps: „Pani de Béarn”.

Skłamałbym, mówiąc, że księżna nie była świadoma tych wsiowych, omal chłopskich rysów, które w niej przetrwały, i że nie wkładała pewnej kokieterii w podkreślanie ich. Ale była to u niej nie tyle fałszywa prostota wielkiej damy udającej wieśniaczkę oraz duma księżnej dającej nauczkę parweniuszkom gardzącym chłopami, których nie znają, ile artystyczny niemal smak kobiety znającej czar tego, co posiada, i niemyślącej psuć tego nowoczesną zaprawą. Podobnie wszyscy znali w Dives normandzkiego restauratora, właściciela „Wilhelma Zdobywcy”, który strzegł się pilnie — rzecz nader rzadka — stroić swojej gospody w nowoczesny zbytek hotelowy; będąc milionerem, zachował język i bluzę normandzkiego chłopca i pozwalał gościom zachodzić do kuchni, aby oglądać, wiejską modą, samego gospodarza przyrządzającego obiad, który był mimo to nieskończenie lepszy i jeszcze droższy niż w najwspanialszych *palace-hôtelach*.

Wszystkie rodzime soki znajdujące się w starych arystokratycznych rodach nie wystarczą; trzeba, żeby się zdarzyła istota na tyle inteligentna, aby nie gardzić tymi sokami, aby ich nie zatracić pod światowym pokostem. Pani de Guermantes — na nieszczęście dowcipna paryżanka — zachowała, kiedy ją poznałem, jedynie akcent swoich stron. Ale przynajmniej kiedy wspominała dziewczęce lata, znajdowała w swoim języku coś pośredniego między naiwnym prowincjonalizmem a sztucznością literacką; kompromis, który tworzy wdzięk *La petite Fadette* George Sand lub pewnych legend wplecionych przez Chateaubrianda<sup>988</sup> w *Pamiętniki zza grobu*. Rozkosz moja to było słyszeć z jej ust opowiadania o chłopach. Stare nazwy, stare zwyczaje dawały tej symbiozie zamku i wsi coś nader soczystego. Zachowawszy styczność z ziemią, na której władza udzielnie, pewien typ arystokracji pozostaje regionalny, tak że najprostsze odezwania się rozwijają nam przed oczami historyczną i geograficzną mapę dawnej Francji.

Kiedy nie było w tym przesady, intencji fabrykowania własnego języka, wówczas wymowa ta stawała się istnym muzeum historii Francji. Wymowa: „Mój stryjeczny dziadek Fitt-Żam” nie dziwiła zgoła, bo wiadomo, że Fitz-James'owie uważają się za magnatów francuskich i nie chcą, aby ich wymawiać z angielska. Trzeba zresztą podziwiać wzruszającą uległość ludzi, którzy sądzili dotąd, że powinni wymawiać gramatycznie pewne nazwiska, a którzy usłyszawszy, że księżna de Guermantes wymawia je inaczej, przerzucili się nagle w nieprzeczuwaną wprzód wymowę. I tak księżna, która miała pradziadka

<sup>986</sup>Maeterlinck, Maurice (1862–1949) — belgijski pisarz piszący po francusku, czołowy przedstawiciel symbolizmu w sztuce, twórca dramatu symbolicznego, laureat literackiej Nagrody Nobla z 1911. [przypis edytorski]

<sup>987</sup>Mérimée, Baudelaire, Stendhal, Balzac, Paul Louis Courier, Wiktor Hugo, Meilhac, Mallarmé — francuscy pisarze XIX wieku. [przypis edytorski]

<sup>988</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

dworzanina hrabiego de Chambord, drocząc się z mężem, że się stał orleanistą<sup>989</sup>, lubiła mówić: „My, stara wiara z Frochedorf<sup>990</sup>”. Gość, który sądził dotąd, że się wymawia: „Frohsdorf”, skręcał co żywo kominka<sup>991</sup> i powtarzał wciąż: „Frochedorf”.

Pewnego razu spytałem pani de Guermantes, kim jest uroczy młody człowiek, którego mi przedstawiła jako swego siostrzeńca, a którego nazwiska nie dosłyszałem; ale niewiele mnie objaśniło, kiedy z głębin krtani księżna wyrzuciła bardzo głośno, ale nie artykułując: „*C'est l'... i Eon... l... b... frère à Robert*. Utrzymuje, że ma czaszkę kształtu dawnych Galów<sup>992</sup>”. Wówczas zrozumiałem, że powiedziała: „To Leonek, książę de Léon, szwagier (był nim w istocie) Roberta de Saint-Loup”. — „Nie wiem, czy ma czaszkę Galów — dodała — ale jego sposób ubierania się, bardzo elegancki zresztą, nie pochodzi od Galów. Pewnego dnia, kiedy z Josselin, gdzie byłam u Rohanów, wybraliśmy się na odpust, zeszli się tam chłopci bodajże z całej Bretanii. Jakiś dryblas, kmiotek z Léon, patrzył z osłupieniem na beżowe porteczki Robertowego szwagra. »Co ty tak się gapisz — rzekł Léon — założę się, że nie wiesz, kto ja jestem«. Chłop powiedział, że w istocie nie wie. »No więc, ja jestem twój książę«. — »A! — odpowiedział wieśniak, odkrywając głowę i przepaszając — wziąłem pana za Angielczyka«”.

A jeżeli korzystając z tego punktu wyjścia, wyciągnąłem panią de Guermantes na Rohanów (z którymi rodzina jej kojarzyła się często), rozmowa jej nasiąkała po trosze melancholijnym czarem Przebaczeń<sup>993</sup> i jakby powiedział ten szczery poeta, Pampille<sup>994</sup>, wydzielała „*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs*”<sup>995</sup>.

Opowiadała także o margrabim Lau (znany jest jego smutny koniec, kiedy, już głuchy, kazał się nosić do ociemniałej pani H...) z jego mniej tragicznych lat, kiedy po polowaniu w Guermantes siadał w papuciach do herbaty z królem angielskim, od którego nie uważał się za niższego i z którym, jak widzimy, nie robił sobie ceremonii. Opowiadała to tak malowniczo, że stroiła margrabiego jak gdyby w pióropusz hardych perygordzkich muszkieterów.

Zresztą nawet w zwykłej wzmiance o kimś uwydatnienie stron, z których pochodzi, dawało pani de Guermantes swoisty i bardzo własny urok, niedostępny rodowitej paryżance. Te proste nazwy: Anjou, Poitou, Périgord, zmieniały się w jej ustach w krajobrazy.

Aby wrócić do wymowy i słownika pani de Guermantes, stanowią one właśnie rys, w którym arystokracja okazuje się naprawdę konserwatywna, ze wszystkim, co to słowo zawiera wraz dziecinnego, niebezpiecznego po trosze, opornego ewolucji, ale i zabawnego dla artysty. Chciałem wiedzieć, jak się niegdyś pisało słowo „Jean”. Dowiedziałem się o tym z listu siostrzeńca pani de Villeparisis, podpisującego się — tak jak go ochrzczono, jak figuruje w *Gotajskim Almanachu*<sup>996</sup> — „Jehan de Villeparisis”, z tym samym pięknym „H”, bezużytecznym, heraldycznym, jakie podziwiamy iluminowane szkarłatem lub ultramaryną w książce do nabożeństwa lub na witrażu.

Niestety nie miałem czasu przedłużać w nieskończoność tych wizyt, pragnąc, o ile możliwe, być w domu przed Albertyną. Otóż jedynie po trochu mogłem wyciskać z pani de Guermantes informacje potrzebne mi do zamówienia dla Albertyny podobnych toalet, o tyle, o ile młoda panna mogła je nosić.

— Na przykład, proszę pani, w dniu, kiedy pani miała być na obiedzie u pani de Saint-Euverte przed rautem u księżnej Marii, miała pani suknię całą czerwoną i czerwone

<sup>989</sup>orleanista — monarchista francuski popierający pretensje Burbonów z linii orleańskiej do tronu; ostatnim monarchą Francji z dynastii Burbonów orleańskich był Ludwik Filip I, panujący w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

<sup>990</sup>Frochedorf — zamek w Austrii, rezydencja hrabiego de Chambord, potomka Burbonów i pretendenta do korony francuskiej, który obrał ten zamek za siedzibę swego wygnania. [przypis tłumacza]

<sup>991</sup>skręcić kominka (daw.) — zręcznie wycofać się z czegoś; kominek (daw., łow.): sus, odskok zająca dla zatarcia śladu. [przypis edytorski]

<sup>992</sup>Galowie — rzymska nazwa celtyckiej ludności Galii, tj. terenów ob. Francji, Belgii, Szwajcarii i pń.-zach. Włoch. [przypis edytorski]

<sup>993</sup>Przebaczenia — Bretania znana jest jako *Pays des Pardons*, kraina odpustów (darowania kar za grzechy, udzielanego podczas świąt patronów kościoła lub kaplicy). [przypis edytorski]

<sup>994</sup>Pampille (pseud.), właśc. *Marthe Allard Daudet* (1878–1960) — autorka książki kucharskiej *Les Bons plats de France. Cuisine régionale* (Dobre dania Francji. Kuchnia regionalna), wyd. w 1913. [przypis edytorski]

<sup>995</sup>*l'après saveur des crêpes de blé noir, cuites sur un feu d'ajoncs* (fr.) — ostry smak naleśników gryczanych smażonych na ogniu z janowca. [przypis edytorski]

<sup>996</sup>*Almanach Gotajski* — rocznik genealogiczny wydawany od 1763, zawierający informacje o europejskich rodach arystokratycznych. [przypis edytorski]

pantofelki; była pani bajeczna; wyglądała pani jak wielki kwiat we krwi, rubin w płomieniach, jak się to nazywało? Czy młoda panienka może to nosić?

Przywracając swojej zmęczonej twarzy promienny wyraz, jaki miewała niegdyś księżna des Laumes, kiedy Swann mówił jej komplementy, pani de Guermantes, śmiejąc się do łez, popatrzyła drwiącym, pytającym i zachwyconym wzrokiem na pana de Bréauté, zawsze obecnego u niej o tej godzinie i sączącego zza monokla uśmiech pobłażliwy dla bredni intelektualisty, w których widział erotyczne podniecenie młodego człowieka. Księżna miała minę taką, jakby mówiła: „Co jemu się dzieje, zwariował”. Potem, obracając się do mnie, rzekła przymilnie:

— Nie wiedziałam, że byłam podobna do rubinu w płomieniach albo do kwiatu we krwi, ale przypominam sobie w istocie, że miałam czerwoną suknię; noszono wtedy taki czerwony atlas. Tak, ostatecznie młoda panna może to nosić, ale mówił mi pan, że ta młoda osoba nie bywa na balach. To jest suknia na wielki wieczór, tego nie można kłaść na wizyty.

Nadzwyczajne jest, że pani de Guermantes przypominała sobie z owego wieczora (ostatecznie to nie było tak dawno) jedynie swoją toaletę, a zapomniała pewnej rzeczy, która, jak się okaże, powinna jednak była leżeć jej na sercu. Zdaje się, że u ludzi czynu (a ludzie światowi to są ludzie czynu — drobnicy, mikroskopijni, ale ostatecznie ludzie czynu) myśl, przemęczona oczekiwaniem tego, co się zdarzy za godzinę, bardzo mało rzeczy przekazuje pamięci. Często na przykład, pan de Norpois (nie dlatego, aby rzucić piaskiem w oczy i nie okazać, że się pomylił), kiedy mu ktoś przypominał jego zawodne prognostyki<sup>997</sup> sojuszu z Niemcami, który się wcale nie skleił, odpowiadał:

— Musiał się pan pomylić, wcale sobie tego nie przypominam, to niepodobne do mnie, bo w tego rodzaju rozmowach jestem zawsze bardzo lakoniczny; nie byłbym nigdy przepowiadał sukcesu jednego z owych *coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force*<sup>998</sup>. Niezaprzeczoną faktą jest, że w odległej przyszłości zbliżenie francusko-niemieckie mogłoby się ziścić i byłoby bardzo korzystne dla obu krajów, przy czym Francja, jak sądzę, nie zrobiłaby złego interesu; ale nigdy o tym nie mówiłem, bo owoc nie jest dojrzały. Jeżeli pan chce wiedzieć moje zdanie, sądzę iż, zapraszając naszych dawnych wrogów na gody weselne, narazilibyśmy się na szach i mat i łatwo moglibyśmy oberwać guza.

Mówiąc to, pan de Norpois nie kłamał; po prostu zapomniał. Zapomina się zresztą szybko tego, czego nie przemyślało się głęboko, tego, co nam podyktował przykład, atmosfera otaczających namiętności. Namiętności się zmieniają, a wraz z nimi przeobraża się nasze wspomnienie. Bardziej jeszcze od dyplomatów politycy nie pamiętają własnego punktu widzenia w danej chwili; wyparcie się samych siebie wynika u nich często nie tyle z nadmiaru ambicji, ile z braku pamięci. Co się tyczy światowców, ci w ogóle mało co sobie przypominają.

Pani de Guermantes twierdziła, że sobie nie przypomina, aby na wieczorze, gdzie miała czerwoną suknię, była obecna pani de Chaussepierre, że się z pewnością myli. A przecież Bóg wie ile od tego czasu Chaussepierre'owie zaprzęтали księstwa Błażejów. Oto czemu. Kiedy prezes Jockey Clubu<sup>999</sup> zmarł, pan de Guermantes był najstarszym wiceprezesem. Niektórzy członkowie klubu, pozbawieni stosunków i czerpiący jedyną przyjemność w dawaniu czarnych galek ludziom, u których nie bywają, podjęli kampanię przeciw księciu, który pewny wyboru i dość lekko traktujący tę prezesurę — drobiazg w stosunku do jego światowej sytuacji — nie rozwinął żadnych starań. Wyzyskano to, że księżna była dreyfusistką<sup>1000</sup> (sprawa Dreyfusa była wprawdzie od dawna zakończona, ale w dwadzieścia lat potem jeszcze o niej mówiono, a dopiero upłynęły dwa), że przyjmuje

<sup>997</sup> prognostyk — przepowiednia. [przypis edytorski]

<sup>998</sup> *coups d'éclat*, które są często tylko *coups de tête*, a kończą się zwykle na *coups de force* — idiomatyczne wyrażenia francuskie ze słowem *coup*, oznaczającym cios, wybuch: *coups d'éclat*: wyczyny; *coups de tête*: spontaniczne decyzje, zachcianki; *coups de force*: zamachy stanu. [przypis edytorski]

<sup>999</sup> *Jockey Club* (ang.: klub wyścigów konnych) — tu: jeden z najbardziej prestiżowych prywatnych klubów dla dżentelmenów w Paryżu, w XIX w. miejsce spotkań francuskiej elity. [przypis edytorski]

<sup>1000</sup> *dreyfusistka* — obrończyni niewinności Alfreda Dreyfusa (1859–1935), francuskiego oficera pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazanego na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowanego w 1906; sprawa Dreyfusa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

Rotszyldów. Zarazem szeptano, że zanadto faworyzuje się od jakiegoś czasu potentatów międzynarodowych, jak książę de Guermantes, na wpół Niemiec. Kampania znalazła teren nader podatny; kluby są zawsze bardzo zawistne w stosunku do ludzi na świeczniku i nienawidzą wielkich fortun.

Majątek pana de Chaussepierre był okazały, ale nie mógł nikogo razić; on sam nie wydawał ani grosza, mieszkanie zajmowali skromne, żona chodziła w czarnej wełnianej sukni. Przepadając za muzyką, dawała małe zebranka, na które zapraszano o wiele więcej śpiewaczek niż u Guermantów. Ale nikt o tym nie mówił, wszystko odbywało się bez parady, często w nieobecności męża, w mrokach ulicy de la Chaise. W operze pani de Chaussepierre bywała niepostrzeżona, zawsze w towarzystwie osób, których nazwiska przypominały środowisko najbardziej „ultra”<sup>1001</sup>, najbliższe Karola X<sup>1002</sup>, ale osób żyjących na uboczu, mało światowych. W dniu wyboru, ku powszechnemu zdumieniu, mrok odniósł tryumf nad blaskiem: Chaussepierre, drugi wiceprezes, został prezesem Jockey Clubu, a książę de Guermantes został na lodzie, to znaczy pierwszym wiceprezesem jak dawniej. Z pewnością, być prezesem Jockey Clubu to niewielka rzecz dla magnata takiego jak Guermantes. Ale nie zostać nim w swojej kolei, być pobitym przez takiego Chaussepierre, którego żonie Oriana nie odklaniała się dwa lata wprzód, wręcz obrażona ukłonem nieznannej nietoperzycy, to było ciężkie dla księcia! Twierdził, że jest wyższy nad tę klęskę, zapewniając zresztą, że zawdzięcza ją dawnej przyjaźni ze Swannem. W rzeczywistości wściekał się.

Rzecz osobliwa, nigdy nie słyszało się, aby książę de Guermantes posługiwał się dosyć banalnym wyrażeniem: „zasadniczo”, ale od czasu wyborów w „Jockeyu”, ilekroć mówiono o sprawie Dreyfusa, zaraz zjawiało się „zasadniczo”: „Sprawa Dreyfusa, sprawa Dreyfusa, łatwo się tak mówi, ale ta nazwa jest niewłaściwa; to nie jest sprawa religii, ale zasadniczo sprawa polityczna”. Pięć lat mogło upłynąć, a nie słyszało się „zasadniczo”, o ile w ciągu tego czasu nie mówiło się o sprawie Dreyfusa; ale jeżeli po upływie pięciu lat nazwisko Dreyfusa wróciło w rozmowie, natychmiast wracało automatycznie „zasadniczo”. Książę nie znosił zresztą, aby mówiono o tej sprawie, „która spowodowała — powiedział — tyle nieszczęść”, mimo iż naprawdę czuły był tylko na jedno: na swoją przegraną w „Jockeyu”. Toteż owego popołudnia, kiedy przypominałem pani de Guermantes czerwoną suknię, którą miała wieczór u kuzynki, pan de Bréauté bardzo źle się wybrał, kiedy chcąc coś powiedzieć, przez niewytłumaczone i nieobjaśnione przez niego skojarzenie, manipulując językiem w zesnurowanych ustach, zaczął:

— À propos sprawy Dreyfusa...

Czemu „sprawy Dreyfusa”? Chodziło tylko o czerwoną suknię i z pewnością biedny Bréauté, który zawsze chciał tylko zrobić każdemu przyjemność, nie miał w tym cienia złej intencji. Ale samo nazwisko Dreyfusa sprawiło, że książę Błażej zmarszczył jowiszowe brwi.

— Powtarzano mi — rzekł Bréauté — dość ładne powiedzenie, dają słowo, bardzo subtelne, pocziwego Cartiera. — Uprzedźmy czytelnika, że ów Cartier, brat pani de Villefranche, nie miał cienia związku z jubilerem tegoż nazwiska. — Co mnie zresztą nie dziwi, bo on ma dowcipu tyle, że mógłby go odprzedać.

— Och — przerwała Oriana — nie ja bym go z pewnością kupiła. Nie umiem powiedzieć, jak mnie pański Cartier zawsze nudził, nigdy nie mogłam zrozumieć, co za niesłychane uroki Lolo de la Trémoille i jego żona znajdują w tym nudziarzu, którego zastają u nich za każdym razem, kiedy tam idę.

— Dłoga książęno — odparł Bréauté, który z trudnością wymawiał literę „r” — jest pani bardzo sułowa dla tego dobrego Cartier. Prawda, że on zanadto się zadowił u La Trémoille’ów, ale ostatecznie to jest dla Lola rodzaj, jakby to powiedzieć, wiernego Achata<sup>1003</sup>, gatunek który stał się białym krukiem w obecnych czasach. W każdym razie, oto

<sup>1001</sup>ultra (pot.) — skrócone: ultraroyalists, skrajnie reakcyjna część monarchistów francuskich. [przypis edytorski]

<sup>1002</sup>Karol X Filip (1757–1836) — król Francji (1824–1830), usiłował przywrócić monarchię absolutną; zrekompensował wielkim właścicielom ziemskim koszty obalenia feudalizmu, zwiększył władzę Kościoła katolickiego, zniósł wolność prasy i ograniczył prawa wyborcze; obalony w wyniku rewolucji lipcowej, po której powołano na tron Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>1003</sup>Achates (mit. rzym.) — jeden z bohaterów *Eneidy*, wierny przyjaciel Eneasza. [przypis edytorski]

powiedzenie, które mi powtórzono: Cartier miał rzec, że jeżeli pan Zola<sup>1004</sup> starał się mieć proces i naraził się na skazanie, to aby doznać wrażeń, których jeszcze nie znał: człowieka siedzącego w więzieniu.

— I dlatego uciekł przed aresztowaniem! — przerwała Oriana. — To się nie trzyma kupy. Zresztą, nawet gdyby to było prawdopodobne, koncept wydaje mi się idiotyczny. Jeżeli to się panu wydaje dowcipne!

— Mój Boże, długa pani Oriano — odparł pan de Bréauté, który, zaatakowany, zaczął rejtować — dowcip nie jest mój, powtarzam go, jak słyszałem, trzeba go brać tak jak jest. W każdym razie był on przyczyną, że Cartier oberwał tęgą pucówkę<sup>1005</sup> od pocziwego La Trémoille, który (bardzo słusznie) nie chce, aby w jego salonie mówiono o tym, co nazwałbym „bieżące sprawy”, zwłaszcza że była tam właśnie pani Alfonsowa Rotszyld. Cartier dostał od Lola de la Trémoillee pławdziwe wcielenie.

— Oczywiście — rzekł książę bardzo kwaśny. — Rotszyldowie, mimo że mają na tyle taktu, aby nigdy nie mówić o tej ohydnej sprawie, są w duszy za Dreyfusem, jak wszyscy Żydzi. To jest nawet argument *ad hominem*<sup>1006</sup> (książę używał trochę na oślep wyrażenia: *ad hominem*), który nie dosyć się podkreśla, aby wykazać złą wiarę Żydów. Jeżeli Francuz kradnie, morduje, nie czuje się zobowiązany, dlatego że jest jak ja Francuzem, uważać go za niewinnego. Ale Żydzi nie uznają nigdy, aby któryś z ich rodaków był zdrajcą, mimo że wiedzą o tym doskonale, i mało dbają o straszliwe następstwa — książę myślał oczywiście o oburzającym wyborze pana de Chaussepierre — jakie zbrodnia jednego z nich może ściągnąć... Słuchaj Oriano, nie będziesz przecież twierdziła, aby fakt, że oni bronią zdrajcę, nie był miazdzący dla Żydów. Nie powiesz mi, że to nie z racji swego żydostwa.

— Mój Boże, owszem — odparła Oriana, odczuwając jakąś drażniącą chęć opierania się grzmiącemu Jowiszowi<sup>1007</sup>, a także postawienia „inteligencji” ponad sprawę Dreyfusa. — Ale to może właśnie dlatego, że jako Żydzi, znając samych siebie, wiedzą, że można być Żydem, a niekoniecznie zdrajcą i wrogiem Francji, jak to twierdzi, zdaje się, pan Drumont<sup>1008</sup>. Gdyby Dreyfus był chrześcijaninem, z pewnością Żydzi by się nim nie interesowali; ale to, co zrobili, zrobili dlatego, że czują, iż gdyby nie był Żydem, nie uwierzono by tak łatwo w jego zdradę *a priori*, jakby powiedział mój siostrzeniec Robert.

— Kobiety nie mają pojęcia o polityce! — wykrzyknął książę, wpijając wzrok w żonę. — Ta ohydna zbrodnia nie jest po prostu tylko sprawą żydowską; to zasadniczo olbrzymia sprawa narodowa, zdolna sprowadzić najstraszliwsze następstwa na Francję, skąd powinno by się wypędzić wszystkich Żydów, mimo że uznaję, iż sankcje dotychczasowe podjęto (w sposób niegodny, absolutnie wymagający rewizji) nie przeciw nim, ale przeciw ich najznamięnitszym przeciwnikom, ludziom pierwszorzędnej wartości, pominiętym z uszczerbkiem kraju.

Czułem, że sytuacja staje się groźna, i zacząłem czym prędzej mówić o sukniach.

— Przypomina sobie pani — rzekłem — pierwszy dzień, kiedy pani była miła dla mnie?

— Pierwszy dzień, kiedy byłam miła dla niego! — odparła księżna, patrząc ze śmiechem na pana de Bréauté, którego nos ścieńczał, uśmiech roztkliwił się przez grzeczność

<sup>1004</sup>Zola, *Émile* (1840–1902) — francuski pisarz, główny teoretyk i przedstawiciel naturalizmu; wszystkie jego dzieła zostały wpisane na indeks ksiąg zakazanych; w 1898 zaangażował się w obronę Alfreda Dreyfusa, oficera niesłusznie oskarżonego o zdradę, publikując 13 stycznia na pierwszej stronie paryskiego dziennika „L’Aurore” artykuł *J’Accuse!*... (Oskarżam!), zarzucający władzom antysemitizm i działania niezgodne z prawem; 7 lutego został postawiony przed sądem pod zarzutem pomówienia, 23 lutego skazany i pozbawiony orderu Legii Honorowej; w kwietniu wyrok uchylono ze względów proceduralnych, ale przeciwko Zoli wszczęto nowy proces, który rozpoczął się 18 lipca; za radą swojego prawnika przed wydaniem werdyktu pisarz uciekł do Anglii. [przypis edytorski]

<sup>1005</sup>pucówka (daw., pot.) — ostre upomnienie; bura. [przypis edytorski]

<sup>1006</sup>*ad hominem* (łac.) — dosł.: do człowieka; argument *ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania, skierowany do konkretnego człowieka i odwołujący się do jego poglądów w celu pokazania ich sprzeczności z przedstawioną przez niego tezą. [przypis edytorski]

<sup>1007</sup>Jowisz (mit. rzym.) — najwyższe bóstwo rzymskiego panteonu, bóg nieba i burzy, odpowiednik greckiego Zeusa. [przypis edytorski]

<sup>1008</sup>Drumont, *Édouard* (1844–1917) — francuski nacjonalista, publicysta i pisarz, założyciel Ligue antisémite de France (Liga antysemitki Francji) w 1889 oraz antysemitki gazety paryskiej „La Libre Parole” w 1892, jeden z najzacieklejszych oskarżycieli Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

dla pani de Guermites, a głos, podobny do ostrzenia noża, wydał mętny i zardzewiały dźwięk.

— Miała pani żółtą suknię w wielkie czarne kwiaty.

— Ależ, dziecko, to jest to samo, to są wszystko suknie wieczorowe.

— A kapelus z bławatkami, który tak lubilem! Ale ostatecznie, wszystko to jest przeszłość. Chciałbym zamówić dla panienki, o której mówiłem, futrzany płaszcz, taki jak księżna miała wczoraj rano. Czy byłoby możliwe go zobaczyć?

— Nie, Hannibal musi za chwilę iść. Przyjdzie pan do mnie, garderobiana pokaże panu wszystko. Tylko, moje dziecko, ja panu chętnie pożyczę, co pan zechce, ale jeżeli rzeczy od Callota, od Douceta lub od Paquina da pan do roboty pokątnej krawcowej, to nie będzie nigdy to samo.

— Ależ ja wcale nie chcę krawcowej, znam doskonale różnicę, ale byłbym ciekaw zrozumieć, czemu to jest co innego.

— Ależ pan wie przecie, że ja nie umiem nic wytłumaczyć, ja jestem ciemna, gadam jak chłopka. To kwestia fasonu, kroju; co się tyczy futer, mogę panu dać słówko do mojego kuśnierza; w ten sposób nie okradnie choć pana. Ale pan wie, że i tak będzie to kosztowało osiem do dziewięciu tysięcy.

— A ten szlafroczek, który tak brzydko pachnie, ten, co księżna miała kiedyś wieczór, taki ciemny, puszysty, nakrapiany, przetykany złotem jak skrzydło motyla?

— A! To suknia Fortuny<sup>ego</sup>. Pańska znajoma może to świetnie nosić w domu. Mam tego dużo, pokażę panu, mogę panu nawet darować którą, jeżeli to panu sprawi przyjemność. Ale chciałabym zwłaszcza, żeby pan zobaczył suknię mojej kuzynki Talleyrand. Muszę do niej napisać, żeby mi jej pożyczyła.

— Pani miała także śliczne pantofelki, czy to też Fortuny?

— Nie, już wiem co pan myśli, to złocone *chevreau*<sup>1009</sup>, znaleźliśmy to w Londynie, robiąc sprawunki z Consuelo de Manchester. To nadzwyczajne. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak to jest złocone; można by rzec złota skóra, nic więcej, i diamentek w środku. Biedna księżna de Manchester nie żyje, ale jeżeli to pana bawi, napiszę do pani de Warwick albo do pani Malborough, żeby mi znalazła podobne. Myślę nawet, czy ja nie mam jeszcze tej skóry. Dałoby się może zrobić to tutaj. Poszukam dziś wieczór, dam panu znać.

Ponieważ starałem się, o ile możliwe, wyjść od księżnej, zanim Albertyna wróci, często, wychodząc od pani de Guermites, spotykałem w dziedzińcu pana de Charlus i Morela, którzy szli do Jupiena na herbatę — szczyt szczęścia dla barona. Nie zawsze ich spotykałem, ale bywali tam co dzień. Trzeba zresztą zauważyć, że stałość przyzwyczajęń pozostaje zazwyczaj w stosunku prostym do ich niedorzeczności. Rzeczy wspaniałe robi się zwykle jedynie wybuchowo. Natomiast egzystencje niedorzeczne, w których maniak pozbawia się sam wszystkich przyjemności i nakłada sobie największe udręki, te egzystencje zmieniają się najmniej. Co dziesięć lat, gdyby ktoś był ciekaw, odnalazłby nieszczęśnika śpiącego w porze, gdy mógłby żyć, wychodzącego w godzinach, w których można być tylko zamordowanym na ulicy, pijącego lodowate napoje, kiedy mu jest gorąco, wciąż leczącego się z kataru. Wystarczyłoby drgnienia energii jednego dnia, aby to zmienić raz na zawsze. Ale właśnie te egzystencje są losem istot niezdolnych do energii. Przywary ich są drugą fizjonomią tych monottonnych istnień, których nędzę mogłaby złagodzić odrobina woli. Te dwie fizjonomie można by na równi brać pod uwagę, mówiąc o codziennych wizytach pana de Charlus z Morelem u Jupiena. Raz tylko burza wstrząsnęła tym codziennym zwyczajem. Siostrzenica eks-krawca rzekła raz do Morela: „Owszem, niech pan przyjdzie jutro, postawię panu herbatę”. Baron słusznie uznał to wyrażenie za nazbyt pospolite jak na osobę, którą zamierzał uczynić niemal swoją synową; ale ponieważ lubił dręczyć i upajał się własnym gniewem, przeto zamiast poprosić po prostu Morela, aby dał narzeczonej lekcję dobrych manier, przez całą powrotną drogę robił mu gwałtowne sceny. Najbrutalniejszym, aroganckim tonem wykrzykiwał:

— „Dotyk”, który, jak widzę, nie idzie ręka w rękę z „takterem”, zahamował u ciebie normalny rozwój powonienia, skoro zniosłeś, aby ten cuchnący zwrot: „postawić herbatę” — za piętnaście centymów, jak sądzę — ośmielił się obrazić swoim kloacznym zapachem moje królewskie nozdrza! Kiedyś skończył solo skrzypcowe, czyś widział kiedy u mnie,

<sup>1009</sup> *chevreau* (fr.) — kozia skóra. [przypis edytorski]



aby cię nagradzano pryknięciem zamiast frenetycznego<sup>1010</sup> oklasku lub milczenia, wymowniejszego jeszcze, bo wyrażającego niemożność powstrzymania, nie tego, czym cię darzy twoja narzeczona, ale łez któreś wycisnął?

Kiedy urzędnik ściągnie na siebie takie wymówki szefa, wylatuje nazajutrz. Ale odprawić Morela byłoby dla pana de Charlus katastrofą; obawiając się nawet, że się posunął za daleko, zaczął obsypywać młodą dziewczynę pochwałami subtelnymi i pełnymi smaku, z domieszką bezwiednych impertynencji.

— Ona jest czarująca tak jak ty jesteś muzyk; musiała cię urzec swoim głosem, istotnie bardzo pięknym w wysokich nutach, jakby wyczekujących akompaniamentu twojego wysokiego *b*. Jej niski rejestr mniej mi się podoba, co musi być w związku z trzema kondygnacjami jej dziwnej i szczupłej szyi, piętrzącej się bez końca. Bardziej od tych wątpliwych szczegółów podoba mi się jej sylweta. A że jest szwaczką i umie manipulować nożyczkami, musi mi wystrzyc swoją sylwetkę z papieru.

Charlie słuchał z roztargnieniem, zwłaszcza że sławione uroki narzeczonej nigdy go nie uderzyły. Ale odpowiedział baronowi:

— Dobrze, maluśki, zmyję jej głowę, aby nie mówiła w ten sposób.

Jeżeli Morel mówił do pana de Charlus „maluśki”, to nie znaczy, aby piękny skrzypek nie wiedział, że baron jest trzy razy starszy od niego. Nie mówił też tego tak, jak by powiedział Jupien, ale z ową prostotą, jaka w pewnych stosunkach żąda, aby przekreślenie różnicy wieku milcząco wyprzedzało czułość. Czułość udaną u Morela; u innych — czułość szczerą. I tak w tej epoce pan de Charlus otrzymał list zredagowany w ten sposób: „Palamedzie<sup>1011</sup> drogi, kiedy cię znów zobaczę? Tęsknię za tobą i myślę często o tobie. — Piotr”. Pan de Charlus łamał sobie głowę, kto z krewnych pozwala sobie pisać doń tak poufale; musiał go widocznie dobrze znać, a mimo to nie mógł poznać pisma. Wszyscy książęta, którym Almanach Gotajski użycza po kilka wierszy, kręcili się przez parę dni po mózgu pana de Charlus. W końcu, nagle, adres na odwrocie koperty oświecił go: autorem listu był „strzelec”<sup>1012</sup> z karcianego klubu, gdzie pan de Charlus zachodził czasami. Ów strzelec nie sądził, aby było niegrzecznie pisać w tym tonie do pana de Charlus, który mu przeciwnie bardzo imponował. Ale myślał, że nie byłoby uprzejmie nie „tykać” człowieka, który go sporo razy całował i tym samym — tak sobie chłopak wyobrażał w swojej naiwności — okazał mu swoje przywiązanie. Pan de Charlus był w gruncie zachwycony tą poufalością. Odprowadził raz nawet pana de Vaugoubert, aby mu pokazać list, a Bóg wie jak baron źle znosił towarzystwo pana de Vaugoubert! Bo ten, z monokłem w oku, rozglądał się cały czas za każdym przechodzącym młodym człowiekiem. Co więcej, czując się śmielszy w towarzystwie barona, używał języka, którego pan de Charlus nie znosił. Żeńszczył wszystkie męskie imiona, że zaś był bardzo głupi, uważał ten żarcik za nader dowcipny i cały czas pękał ze śmiechu. Ponieważ zależało mu przy tym bardzo na swoim dyplomatycznym stanowisku, ową niecierpliwą jowialność przerywał ciągle lęk przed spotkaniem kogoś z towarzystwa, zwłaszcza zaś z ministerstwa. „Znałem tę małą telegrafistkę — mówił, trącając łokciem nachmurzonego barona — znałem ją, ale potem sporządzała brzydula! Och, ten goniec z Galeries Lafayette, co za cudo! Mój Boże, idzie dyrektor ministerstwa handlu. Byle tylko nic nie zauważył. Byłby zdolny zaraportować to mojemu ministrowi, który by mnie wysłał na zieloną trawkę, zwłaszcza, że, jak się zdaje, i on należy do cechu”. Pan de Charlus nie posiadał się z wściekłości. W końcu, aby

<sup>1010</sup>frenetyczny — gwałtowny, entuzjastyczny. [przypis edytorski]

<sup>1011</sup>Palamedes (mit. gr.) — heros, syn Naupliosa, króla Eubei; odkrył podstęp Odyszeusza broniącego się przed udziałem w wyprawie na Troję i udającego obłąkanego; w zemście za to Odyszeusz podrzucił w jego namiocie sfalszowany list Priama, a następnie oskarżył o zdradę; Palamedesa uznano za winnego, zginął ukamienowany przez Odyszeusza i Diomedesa; wg innej wersji zabili go podczas połowu ryb; miał być wynalazcą liter, miar i wag, umiejętności obliczania, astronomii, praw pisanych itd.; choć nie występuje w eposach Homera, był tytułowym bohaterem zaginionych tragedii Sofoklesa, Eurypidesa i Ajschylosa. [przypis edytorski]

<sup>1012</sup>strzelec — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonymi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maksyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach), jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

skrócić ten rozpaczliwy spacer, wyjął list i dał go odczytać ambasadorowi, ale zalecił mu dyskrecję, bo udawał, że Charlie jest zazdrosny, aby tym dać do zrozumienia, że skrzypek go kocha. I dodał tonem nieoszacowanej dobroci: „Tak, trzeba się zawsze starać, aby robić możliwie najmniej przykrości”.

Zanim wrócimy do sklepu Jupiena, autor pragnie powiedzieć, jak dalece byłoby mu przykro, gdyby czytelnik zgorszył się tak szczególnymi obrazami. Z jednej strony (co jest mniej ważne), wiele osób uważa, że arystokracja stosunkowo bardziej w tej książce podpada pod zarzut degeneracji niż inne klasy. Gdyby tak i było, nie byłoby w tym nic bardzo dziwnego. Najstarsze rodziny streszczają w końcu w czerwonym i garbatym nosie, w niekształtnym podbródku, swoiste oznaki powszechnie podziwianej „rasy”. Ale pośród tych trwałych i coraz wyrazistszych rysów są inne, niewidoczne: mianowicie skłonności i gusty. Poważniejszym zarzutem — gdyby był uzasadniony — byłoby, że wszystko to jest nam obce i że trzeba czerpać poezję z najbliższej prawdy. Owszem, sztuka dobyta z najpospolitszej rzeczywistości istnieje i dziedzina jej jest może największa. Niemniej prawdą jest, że doniosłe rzeczy, czasem piękno, mogą się rodzić z postępów i z form duchowych tak odległych od naszych uczuć i wierzeń, że nie możemy nawet ich zrozumieć; uderzają nasze oczy niby zjawisko pozbawione przyczyny. Cóż poetyczniejszego niż Kserkses<sup>1013</sup>, syn Dariusza, chłostający różgami morze, które pochłonęło jego okręty?

Tyle jest pewne, że Morel, korzystający z władzy, jaką uroda dawała mu nad młodą dziewczyną, powtórzył jej — niby to w swoim imieniu — uwagę barona, wyrażenie bowiem: „postawić herbatę” znikło ze sklepu krawca tak doszczętnie, jak znika na zawsze z salonu bliska osoba, którą ktoś przyjmował co dzień, a z którą z tej lub innej przyczyny poróżnił się lub którą pragnie ukryć i spotyka tylko poza domem. Pan de Charlus był zadowolony, że „stawianie herbaty” znikło. Ujrzał w tym dowód swego wpływu na Morela i usunięcie jedynej plamki na doskonałościach młodej dziewczyny. Wreszcie, jak wszyscy ludzie tego rodzaju, będąc szczerym przyjacielem Morela i jego półnarzeczonej, gorącym zwolennikiem ich związku, dość był skłonny wniecać mniej lub więcej niewinne zwady, poza którymi — i ponad którymi — sam pozostawał olimpijski, niczym jego brat, książkę Błażej.

Morel powiedział panu de Charlus, że kocha siostrzenicę Jupiena, że się chce z nią żenić; baron zaś znajdował słodycz w tym, aby towarzyszyć swemu młodemu przyjacielowi na tych wizytach, grając rolę pobłażliwego i dyskretnego teścia. Przepadał za tym.

Osobiście jestem przekonany, że „stawianie herbaty” pochodziło od samego Morela i że w zaślepieniu miłości młoda krawcowa przejęła od ukochanego zwrot odbijający trywialnością od jej pięknego wysłowienia. Owo jej wysłowienie, dystyngowany sposób bycia będący z nim w harmonii, protekcja pana de Charlus, wszystko to sprawiło, że wiele klientek przyjmowało ją jak przyjaciółkę; zapraszały ją na obiad, wciągały ją w swoje kółko, z czego młoda osoba korzystała jedynie za zezwoleniem barona i w dni, które mu odpowiadały. „Młoda krawcowa bywająca w świecie! — powie ktoś — cóż za nieprawdopodobieństwo!”. Gdyby tak brać, równie mało prawdopodobne było, że Albertyna odwiedzała mnie niegdyś o północy, a teraz żyła ze mną. I może byłoby to nieprawdopodobne z inną, ale nie z Albertyną, niemającą ojca i matki, wiodącą życie tak swobodne, że z początku wzięłam ją w Balbec za przyjaciółkę cyklisty; mającą jako najbliższą krewną panią Bontemps, która już u pani Swann podziwiała w siostrzenicy jedynie złe maniere, a teraz przymykała oczy, zwłaszcza jeśli to mogło ją uwolnić od Albertyny, zapewniając jej bogate małżeństwo, z którego trochę pieniędzy przeszłoby do ciotki. (W największym świecie matki wybornie urodzone a biedne, zapewniwszy synowi bogate małżeństwo, żyją na koszt młodej pary, przyjmują futra, auto, pieniądze synowej, której nie lubią, a którą wprowadzają w świat).

Przyjdzie może dzień, że krawcowe (co by mnie wcale nie gorszyło) zaczną bywać w świecie. Siostrzenica Jupiena, będąc wyjątkiem, nie może jeszcze być wróżbą w tej mierze; jedna jaskółka nie stanowi wiosny. W każdym razie, jeżeli owa tak skromna wszakże „kariera” siostrzenicy Jupiena gorszyła niejednych, nie gorszyła z pewnością Morela. Głu-

<sup>1013</sup>Kserkses (ok. 518–465 p.n.e.) — król perski, w 480 roku p.n.e. wyruszył z ogromną, wielonarodową armią na podbój Grecji. Podczas wyprawy nakazał zbudować most w celu przeprowadzenia armii przez cieśninę Hellespont, oddzielającą Azję Mniejszą od Europy. Kiedy świeżo zbudowany most został zniszczony przez potężną burzę, władca rozkazał ukarać morze biczowaniem i wrzucić w głębinę kajdany. [przypis edytorski]

pota jego na niektórych punktach była taka, że nie tylko uważał tę młodą dziewczynę, tysiąc razy inteligentniejszą od niego, za „głupią” (może tylko dlatego, że go kochała), ale również miał za awanturnice, za szwaczki przebrane i udające damy, bardzo dobrze sytuowane osoby, które ją gościły, a których zaproszenia przyjmowała z całą skromnością. Oczywiście to nie byli Guermantowie, ani nawet ich znajomi; ale to były panie „z miasta”, bogate, eleganckie, o poglądach na tyle szerokich, aby nie uważać za hańbę przyjaźni z krawcową, a równocześnie na tyle ciasnych, aby znajdować przyjemność w popieraniu dziewczyny, którą Jego Wysokość baron de Charlus odwiedza (w najlepszych intencjach) co dzień.

Nic bardziej nie odpowiadało baronowi niż pomysł tego małżeństwa; w ten sposób sądził, że nie straci Morela. Zdaje się, że siostrzenica Jupiena niemal jeszcze dzieckiem popełniła „błąd”. I pan de Charlus, wychwalając ją przed Morelem, rad byłby zdradzić to przyjacielowi (który byłby wściekły), aby w ten sposób zasiał niezgodę. Bo pan de Charlus, mimo że piekielnie złośliwy, podobny był do wielu poczciwych ludzi, którzy wychwalają kogoś, aby dowieść własnej dobroci, ale strzegłby się jak ognia zbawiennych, a tak rzadko wypowiedzanych słów zdolnych zapewnić pokój. Mimo to baron unikał wszelkiej insynuacji, a to z dwóch przyczyn. „Jeżeli opowiem Morelowi — powiedział sobie — że jego narzeczona nie jest bez skazy, zrani to jego ambicję, będzie miał do mnie żal. A potem, któż wie, czy on się w niej nie kocha? Jeżeli nie powiem nic, ten słomiany ogień rychło zgaśnie, będę kierował ich stosunkami, będzie ją kochał jedynie tyle, ile ja sobie będę życzył. Jeżeli mu opowiem miniony błąd jego przyszłej, kto mi ręczy, czy Charlie nie jest jeszcze na tyle zakochany, aby się stać zazdrosny? Wówczas, z własnej winy, flirt bez znaczenia, którym można powodować do woli, przemienię w wielką miłość, rzecz trudną do kierowania”. Z dwóch tych przyczyn pan de Charlus zachowywał milczenie, które miało jedynie pozory dyskrecji, ale które skądinąd nie było bez zasługi, bo milczenie jest prawie niepodobieństwem<sup>1014</sup> dla ludzi jego rodzaju.

Zresztą młoda osoba była urocza, i pan de Charlus, któremu dawała wszystkie przyjemności estetyczne, jakie mógł znajdować w kobietach, byłby chciał mieć setki jej fotografii. Będąc inteligentniejszy od Morela, słyszał z przyjemnością nazwiska pań, które ją przyjmowały, a które jego zmysł towarzyski właściwie taksował; ale strzegł się (chcąc zachować władzę) powiedzieć to Morelowi, który z chamską tępotą wciąż wierzył, że poza jego „klasą skrzypcową” i Verdurinami istnieją jedynie Guermantowie, kilka rodzin omal nie królewskich, wymienionych przez barona, wszystko zaś inne to tylko „szumowiny” i „pospólstwo”. Te wyrażenia pana de Charlus brał Charlie dosłownie.

Pośród racji, które czyniły pana de Charlus szczęśliwym z małżeństwa dwojga młodych, była i ta, że siostrzenica Jupiena stałaby się poniekąd rozszerzeniem osobowości Morela, a przez to władzy barona nad skrzypkiem i kontaktu z nim. „Oszukać” w sensie małżeńskim przysłał żonę skrzypka — to by nie obudziło w panu de Charlus najmniejszego skrupułu. Ale być mentorem „młodego małżeństwa”, czuć się groźnym i wszechpotężnym protektorem żony Morela, która widząc w baronie boga, dowodziłaby przez to, że ukochany Morel wszczepił jej owo pojęcie, i zawierałaby w ten sposób coś z Morela, wszystko to urozmaicało panu de Charlus sposób jego panowania. Jego „rzecz”, Morel, stawał się jedną istotą więcej, małżonkiem, czyli przedmiot miłości barona zyskiwał coś innego, nowego, zajmującego. Panowanie to byłoby może nawet większe teraz niż kiedykolwiek. Bo tam gdzie Morel sam — „nagi”, aby tak rzec — opierał się często baronowi, pewien, że go łatwo odzyska, ożeniwszy się, bardziej by się bał o los swego małżeństwa, swego domu, swojej przyszłości, tym samym nastęrczałby pragnieniom pana de Charlus większą powierzchnię i łatwiejszy uchwyt. Wszystko to nęciło pana de Charlus, a także myśl, iż w dni, kiedy by się nudził, mógłby wzniecić wojnę między małżonkami: baron zawsze dosyć lubił batalistyczne obrazy... Jeszcze milsza była mu myśl o zależności, w jakiej będzie trzymał młode stadło<sup>1015</sup>. Miłość pana de Charlus do Morela odzyskiwała rozkoszną świeżość, kiedy sobie powiadał: „Żona jego będzie też moją, tak jak on jest mój; będą robili tylko to, co mnie będzie na rękę, będą posłuszni moim kaprysom. W ten sposób ona będzie nieznanym mi dotąd symbolem tego, o czym prawie zapomniałem,

<sup>1014</sup>niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>1015</sup>stadło (daw.) — małżeństwo; para małżeńska. [przypis edytorski]

a co jest tak słodkie memu sercu: że dla całego świata, dla tych, co będą widzieli, że się nimi opiekuję, że im daję mieszkanie, dla mnie samego wreszcie — Morel jest mój”. Ta oczywistość w oczach ludzi i w jego własnych oczach upajała barona bardziej niż wszystko inne. Bo posiadanie przedmiotu miłości jest radością większą jeszcze niż miłość. Często ci, co kryją światu owo posiadanie, czynią to jedynie z obawy, aby im nie wydarto ich ukochania. I przez to ostrożne milczenie szczęście ich ubożeje.

Czytelnik przypomina sobie może, że Morel powiedział niegdyś baronowi, iż pragnieniem jego byłoby uwieść młodą dziewczynę, właśnie tę, siostrzenicę Jupiena; aby tego dopiąć, przyrzekłby jej małżeństwo, po czym zgwałciwszy ją, „dałby nogę”; ale wobec późniejszych wynurzeń Morela, jakoby zakochanego w tej dziewczynie, pan de Charlus zapomniał o tym. Może zapomniał i sam Morel. Był może nawet istotny przedział między naturą Morela — taką, do jakiej się cynicznie przyznał, może nawet zręcznie przesadził — a chwilą, w której wzięłaby ona górę. W miarę rosnącej zażyłości dziewczyna podobiała mu się coraz więcej, kochał ją. Tak mało znał samego siebie, że wyobrażał sobie z pewnością, że ją kocha, może nawet na zawsze! Z pewnością jego początkowa chętką, jego zbrodniczy zamiar trwał nadal, ale pokryte taką warstwą innych uczuć, że nic nie świadczy przeciw szczeroci skrzypka, gdy mówił, że owo występne pragnienie nie było jego prawdziwą pobudką. Był zresztą krótki okres, kiedy mimo iż sobie tego jasno nie mówił, małżeństwo to zdawało mu się konieczne. Morel cierpiał wówczas na dość silne kurcze w ręce i liczył się z możliwością porzucenia skrzypiec. Ponieważ poza swoją sztuką był nieopisanie leniwy, musiał szukać kogoś, kto by go utrzymywał; wolał, żeby to była raczej siostrzenica Jupiena niż pan de Charlus; ta kombinacja zostawiała mu więcej swobody, a także większy wybór kobiet, zarówno wśród nowych „podręcznych”, które siostrzenica Jupiena musiałaby mu stręczyć, jak wśród pięknych i bogatych dam, którym on by stręczył ją samą. To, że przyszła jego żona mogłaby być na tyle przewrotna, aby się nie zgodzić na takie kombinacje, nie powstało ani na chwilę Morelowi w głowie. Zresztą odkąd kurcz w ręce przeszedł, rachuby zeszyły na dalszy plan, zostawiając miejsce czystej miłości. Wystarczyłyby skrzypce wraz z apanażami od pana de Charlus; skoroby zaś Morel już był żonaty, wymagania barona osłabłyby z pewnością. Małżeństwo było rzeczą pilną, tak dla jego miłości, jak w interesie jego swobody. Poprosił formalnie o rękę młodej dziewczyny, do której decyzji Jupien się odwołał. Zresztą to nie było potrzebne. Miłość okrywała ją całą, jak włosy, kiedy je rozplotła, jak radość jej omdlałych spojrzeń. U Morela wszystko prawie, co mu było przyjemne lub korzystne, rodziło jednakowe wzruszenia i słowa, czasem nawet lży. Szczerze zatem — jeżeli można do niego zastosować ten wyraz — znajdował dla siostrzenicy Jupiena zwroty równie sentymentalne (sentymentalne są też słowa, jakie młodzi arystokraci, mający ochotę nic nie robić całe życie, zwracają do uroczej córki olbrzymio bogatego parweniusza), jak niegdyś jawnie nikczemne były te, w których rozmawiając z panem de Charlus, planował jej uwiedzenie i gwałt. Tylko że cnotliwy entuzjazm w stosunku do osoby, której pożądał, oraz uroczyście zobowiązania wobec niej miały u Morela swoją przeciwwagę. Z chwilą gdy przestał pragnąć lub kiedy obowiązek zaczął mu być uciążliwy, ta sama osoba stawała się dlań natychmiast przedmiotem antypatii. Antypatia ta, którą umiał usprawiedliwić we własnych oczach, pozwalała mu po paru atakach nerwów i powrocie do równowagi dowieść samemu sobie, że nawet biorąc rzecz wysoce moralnie, wolny jest od wszelkich zobowiązań. Tak na przykład pod koniec pobytu w Balbec Morel stracił nie wiem już na co wszystkie pieniądze; nie śmiejąc wyznać tego panu de Charlus, szukał, od kogo by je wydostać. Nauczył się od ojca (który jednak zabronił mu zostać „naciągaczem”), iż w podobnym wypadku wypada napisać do upatrzonej osoby, że się z nią chce „pomówić w sprawie osobistej”, że się ją „prosi o spotkanie w pewnej sprawie”. Magiczna ta formuła tak oczarowała Morela, że byłby, jak sądzę, chętnie stracił pieniądze dla samej przyjemności poproszenia o schadzki „w pewnej sprawie”. Z czasem przekonał się, że ta formuła nie posiada mocy, którą jej przypisywał. Stwierdził, że ludzie, do których nie byłby nigdy napisał w innych okolicznościach, nie kwapią się odpowiedzieć w pięć minut po otrzymaniu listu „w pewnej sprawie”. Jeżeli upłynęło pół dnia, a Morel nie otrzymał odpowiedzi, nie przychodziło mu na myśl, że nawet biorąc rzeczy najpomyślniej, nagabywany jegomość może nie wrócił do domu, może miał inne pilne listy, mógł być zresztą w podróży albo chory itd. Jeżeli — wyjątkowo szczęśliwie — naznaczył spotkanie na drugi dzień, Morel przystępował do

ofiary z tymi słowami: „Właśnie dziwiłem się, że nie mam odpowiedzi; zastanawiałem się, czy coś nie zaszło; zatem zdrowie pańskie jest zawsze dobre” itd. Tak więc w Balbec poprosił mnie, żebym go przedstawił temuż Blochowi, dla którego był tak niegrzeczny w kolejce tydzień wprzód; ale nie zdradził się przede mną, że chce mówić z Blochem „w pewnej sprawie”. Bloch nie zawahał się pożyczyć — lub raczej skłonić pana Nissim Bernard do pożyczania Morelowi — pięciu tysięcy franków. Od tego dnia Morel ubóstwiał Blocha. Zastanawiał się ze łzami w oczach, jak mógłby się odwdziżyć komuś, kto mu ocalił życie. W końcu podjąłem się uprosić pana de Charlus o tysiąc franków miesięcznie dla Morela; pieniądze te miał Morel przekazywać Blochowi, spłacając go w ten sposób dość szybko. Pierwszego miesiąca Morel, jeszcze pod wrażeniem dobroci Blocha, przesłał mu bezzwłocznie tysiąc franków; ale potem znalazł najwidoczniej inny, przyjemniejszy użytek dla pozostałych czterech tysięcy franków, bo zaczął mówić bardzo źle o Blochu. Widok Blocha wystarczał, aby mu zepsuć humor. Bloch, zapomniawszy, ile ściśle pożyczył Morelowi, upomniał się o trzy i pół tysiąca franków w miejsce czterech tysięcy, co by skrzypkowi oszczędziło pięćset franków; na co Morel gotował się odpisać, że wobec podobnego kłamstwa nie tylko nie zapłaci już ani centyma<sup>1016</sup>, ale wierzyciel jego może mówić o szczęściu, że go nie skarży do sądu. Kiedy Morel to mówił, oczy mu błyszczały. Nie zadowolili się zresztą twierdzeniem, że Bloch i pan Nissim Bernard nie mogą mieć do niego żadnych pretensji, a raczej powinni by się czuć szczęśliwi, że on nie ma pretensji do nich. Podobno pan Nissim Bernard oświadczył kiedyś, że Thibaut gra nie gorzej od Morela; otóż skrzypek uważał, że powinien by go pozwać, że tego rodzaju gadania szkodzą mu w jego zawodzie; wołał, że nie ma już sprawiedliwości we Francji, zwłaszcza na Żydów (antysemityzm był u Morela naturalnym skutkiem pięciu tysięcy franków pożyczonych od Izraelity), i nie ruszał się już z domu bez rewolweru. Podobny stan nerwowy po okresie gorącej miłości miał się niebawem objawić u Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena. Pan de Charlus odegrał może bezwiednie pewną rolę w tej odmianie; często bowiem oświadczał, nie wierząc w to ani trochę, ot, aby się droczyć, że skoro się pobiorą, przestanie się nimi zajmować i pozwoli im bujać o własnych siłach. Ta myśl nie wystarczała sama w sobie, aby oderwać Morela od narzeczonej; ale utkwiszszy w jego głowie, mogła się kiedyś skombinować z innymi myślami mającymi z nią powinowactwo i zdolnymi — gdy nastąpi połączenie chemiczne — stać się potężnym czynnikiem zerwania.

Nie zdarzało mi się zresztą zbyt często spotykać pana de Charlus i Morela. Czasem weszli już do sklepu, zanim pożegnałem księżnę; przyjemność bowiem, jaką znajdowałem w jej towarzystwie, była taka, że pod jej urokiem zapomniałem nie tylko trwożnego oczekiwania poprzedzającego powrót Albertyny, ale nawet godziny tego powrotu.

Spośród dni, w które zasiadywałem się u pani de Guermites, wspomnę jeden, upamiętniony drobnym wydarzeniem, którego okrutny sens zrozumiałem dopiero znacznie później. Tego popołudnia pani de Guermites dała mi, wiedząc, że lubię te kwiaty, bez turecki przybyły z południa. Kiedy pożegnawszy księżnę, szedłem do siebie, Albertyna wróciła już; minąłem się na schodach z Anną, którą uderzył silny zapach kwiatów.

— Jak to, jużście wrócili? — rzekłem.

— Ledwo przed chwilą, ale Albertyna miała pisać jakieś listy, odprawiła mnie.

— Nie sądzisz, że ona ma jakieś złe zamiary?

— Ani trochę; pisze, zdaje się, do ciotki. Ale wiesz, ona nie lubi zbyt silnych zapachów, nie będzie zachwycona twoim bzem.

— W takim razie miałem nieszczęśliwą myśl! Powiem Franciszce, żeby go postawiła w sieni koło kuchennych schodów.

— Ty sobie wyobrażasz, że Albertyna nie poczuje od ciebie zapachu bzu? Obok tuberozy to jest najuporczywszy; zresztą, zdaje mi się, że Franciszka poszła za jakimś sprawkami.

— W takim razie jak ja się dostanę, właśnie dziś nie wziąłem klucza.

— Och, zadzwonisz po prostu, Albertyna otworzy. Tymczasem może Franciszka wróci.

<sup>1016</sup>centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

Pożegnałem Annę. Za pierwszym dzwonkiem Albertyna przyszła otworzyć, co było dość skomplikowane, bo Franciszka zeszła na dół, a Albertyna nie wiedziała, jak się zapala światło. W końcu zdołała mnie wpuścić, ale zapach bzu spłoszył ją. Postawiłem kwiaty w kuchni, tak iż przerwawszy list (nie rozumiałem czemu), Albertyna miała czas udać się do mojego pokoju. Zawołała mnie, zastałem ją wyciągniętą na łóżku. Na razie wydało mi się to znów całkiem naturalne, co najwyżej nieco mętne, w każdym razie nieznaczące. Albertyna, omal nie przydybana z Anną, zyskała nieco na czasie, gasząc wszystkie światła, idąc do mnie, abym nie spostrzegł jej łóżka w nieładzie, i udając, że właśnie pisała. Ale wszystko to pokaże się później; nigdy zresztą nie dowiedziałem się, czy i to było prawdą.

Na ogół, z wyjątkiem tego jednego zdarzenia, wszystko odbywało się normalnie, kiedy wracałem od księżnej. Ponieważ Albertyna nie wiedziała, czy nie zechcę z nią wyjść przed obiadem, zastawiałem zazwyczaj w przedpokoju jej kapelusz, płaszczyk, parasolkę; zostawiała je tam na wszelki wypadek. Z chwilą gdy wchodząc, widziałem te rzeczy, atmosfera domu stawała mi się możliwa. Czulem, że w miejsce rozrzedzonego powietrza wypełnia go szczęście. Smutek mój pierzchał, widok tych drobiazgów dawał mi uczucie posiadania Albertyny, biegłem do niej.

W dni, w które nie zachodziłem do pani de Guermites, przez godzinę poprzedzającą powrót mojej przyjaciółki przeglądałem dla zabicia czasu jakiś album Elstira, książkę Bergotte'a, sonatę Vinteuila.

Dzieła sztuki zwracając się na pozór jedynie do wzroku i słuchu, wymagają jednak, aby i nasza rozbudzona inteligencja współpracowała najściślej z tymi dwoma zmysłami; dawałem tedy bezwiednie folgę marzeniom, jakie nieznajoma jeszcze Albertyna wzbudziła we mnie niegdyś; marzeniom zgaszonym później przez codzienne życie. Rzucałem je we frazę muzyka lub w obraz malarza niby w tygiel; syciłem nimi książkę, którą czytałem, i bez wątpienia stawała mi się przez to żywsza. Ale i Albertyna zyskiwała na tym przeniesieniu z jednego z dwóch światów, do których mamy dostęp i w których możemy mieścić na przemian dany przedmiot; umykała się w ten sposób miażdżącemu ciśnieniu materii, aby igrać w płynnych regionach myśli. I przez chwilę ta dziewczyna, którą byłem tak znudzony, budziła we mnie płomienne uczucia. Oblekała w takich momentach kształt jakiegoś dzieła Elstira lub Bergotte'a, oglądana w perspektywie wyobraźni i sztuki rodziła we mnie chwilowy zachwyty.

Niebawem uprzedzano mnie, że Albertyna właśnie wróciła; przy czym wzbronione było wymieniać jej imię, jeżeli nie byłem sam, kiedy na przykład był u mnie Bloch; zatrzymywałem go wówczas jeszcze przez chwilę, tak aby się nie mógł spotkać z Albertyną. Kryłem się z tym, że ona mieszka u mnie, a nawet, że ją przyjmuję u siebie, tak dalece bałem się, aby któryś z moich przyjaciół nie zadurzył się w niej, nie czekał na nią na ulicy, lub aby spotkawszy się z nim w korytarzu lub w przedpokoju, Albertyna nie mogła dać jakiegoś znaku i umówić spotkania. Potem słyszałem szelest sukni: to Albertyna szła do swego pokoju; przez delikatność (a z pewnością także przez owe względy, które niegdyś, w czasie naszych obiadów w la Raspelière, kazały jej unikać wszystkiego, co by mogło podsycić moją zazdrość) nie wchodziła do mnie, gdy wiedziała, że nie jestem sam. Ale zrozumiałem naraz, że nie tylko dlatego. Przypominałem sobie: znałem pierwszą Albertynę, potem nagle zmieniła się w inną, tę, którą znałem dziś. I tę zmianę mogłem przypisać jedynie sobie. Wszystko to, co byłaby mi wyznała łatwo — nawet chętnie, wówczas gdyśmy byli z sobą jak dobrzy koledzy — zamarło na jej ustach, odkąd sądziła, że ją kocham, lub odkąd, nie nazywając może tego wręcz miłością, odgadła inkwizytorskie uczucie, które chce wiedzieć, cierpi, że wie, i sili się dowiedzieć więcej. Od tego dnia ukrywała przede mną wszystko. Wracała spod mojego pokoju, jeżeli sądziła, że jestem z kimś (często nawet nie z przyjacielem, ale z jakąś przyjaciółką); ona, której oczy tak się ożywiały niegdyś, kiedy mówiłem o jakiejś młodej dziewczynie: „Trzeba się starać ją ściągnąć, tak bym miała ochotę ją poznać”. — „Ale ona jest, jak ty nazywasz, »w podejrzanym rodzaju«”. — „Właśnie, to będzie tym zabawniejsze”.

W takiej chwili zdołałbym się może dowiedzieć wszystkiego. I nawet kiedy tam, w kasynie, odkleiła piersi od piersi Anny, nie sądzę, aby to było z mojego powodu; raczej z powodu Cottarda, który mógłby je (tak z pewnością myślała) obmówić. A jednak wówczas już zaczynała sztywnieć, nie mówiła już tak swobodnie jak wprzód, stała się oględna w gestach. Stopniowo zaczęła unikać wszystkiego, co by mnie mogło zaniepo-

koić. Partiom swojego życia, których nie znałem, dawała charakter naiwnie przeze mnie przyjmowanej niewinności. Teraz zmiana była całkowita; o ile nie byłem sam, Albertyna szła prosto do siebie, nie tyle dlatego, aby mi nie przeszkadzać, ale aby pokazać, że jej nikt inny nie interesuje. Jednego nie zrobiłaby już dla mnie nigdy, tego, co zrobiłaby wówczas, kiedy mi to było obojętne — i zrobiłaby bez trudu właśnie dla tej przyczyny — mianowicie tego, żeby się przyznać. Na zawsze już będę musiał, jak sędzia śledczy, wyciągać niepewne konkluzje z niebaczących słów, które dałoby się może wytłumaczyć bez doszukiwania się winy. I zawsze będzie we mnie czuła zazdrośnika i sędziego.

Nad słuchując kroków Albertyny z owym lubym poczuciem, że nie wyjdzie już tego wieczora, podziwiałem fakt, że dla tej młodej dziewczyny, o której poznaniu niegdyś nie śmiałem marzyć, „wracać co dzień do siebie”, znaczy właśnie wracać do mnie. Tajemnicze i zmysłowe szczęście, cząstkowe i ulotne, którego doświadczałem w Balbec owego wieczora, kiedy Albertyna nocowała w hotelu, skompletowało się, ustabilizowało, wypełniało moje mieszkanie, niegdyś puste, trwałym zapasem słodczy, domowej, niemal rodzinnej, promieniując nawet w korytarz; słodczy, którą karmiły się spokojnie wszystkie moje zmysły, to faktycznie, to (kiedy byłem sam) przez wyobraźnię i w oczekiwaniu powrotu Albertyny. Kiedyś usłyszał, że się zamykają drzwi do jej pokoju, wówczas, o ile był u mnie ktoś z przyjaciół, starałem się go wyprawić czym prędzej, wyprowadzając go aż na schody, czasem nawet schodziłem z nim kilka stopni. Przyjaciół mówił mi, że się zaziębię, zwracał uwagę, że nasz dom jest lodowaty, pełen przeciągów i że drogo trzeba by mu płacić za to, aby tu zamieszkał. Skarżyli się na to zimno, dlatego że się dopiero zaczęło i że jeszcze do niego nie przywykli; ale we mnie z tego samego powodu wzniecało ono radość wraz z bezwiednym wspomnieniem pierwszych zimowych wieczorów, kiedy wróciwszy niegdyś z podróży, szedłem do *café concert*, aby znów skosztować zapomnianych rozkoszy Paryża. Toteż rozstawszy się z dawnym kolegą, nucąc, wbiegałem na schody i wracałem do mieszkania. Ciepła pora, pierzchając, zabrała ze sobą ptaki. Ale zastąpili je inni muzycy, niewidzialni, wewnętrzni. I oczerniony przez Blocha lodowaty wiatr, dmący rozkosznie przez nieszczelne drzwi, witały z uniesieniem — jak ptaki leśne witają piękne letnie dni — bez końca refreny Fragona, Mayola lub Paulusa. Albertyna wychodziła naprzeciw mnie na korytarz. „Czekaj, pójdę się rozebrać, a tymczasem przyślę ci Annę; wpadła na chwilę, żeby ci powiedzieć dobranoc”. I nie zdjąwszy jeszcze szarego woala związającego z szynszylowego toczka (dałem go jej w Balbec), znikła w swoim pokoju, tak jakby odgadła, że Anna, czuwająca nad nią z mojego zlecenia, miała, podając mi szczegóły, wspominać o spotkaniu znajomej osoby, wprowadzić coś konkretnego w mgliste regiony będące terenem spaceru, który im zajął cały dzień, a którego nie umiałem sobie wyobrazić.

Wady Anny zaakcentowały się; nie była już taka miła jak wówczas, kiedy ją poznałem. Był w niej teraz podskórnie jakiś cierpki niepokój, gotowy zerwać się jak wichur morski, gdybym tylko wspomniał o czymś, co było przyjemne dla Albertyny i dla mnie. Nie przeszkadzało to, że Anna mogła być lepsza dla mnie, kochać mnie bardziej niż ludzie miłsi od niej. Często miałem tego dowody. Ale najłżejsza oznaka czyjegoś szczęścia, o ile to szczęście nie płynęło z niej, budziło w niej odruch nerwowy, przykry jak łoskot zbyt mocno zamykanych drzwi. Uznawała cierpienia, w których nie miała udziału, ale nie uznawała takich przyjemności; kiedy widziała, że mój chory, martwiła się, współczuła, pielęgnowałaby mnie w potrzebie. Ale kiedy miałem przyjemność, choćby tak bląhą jak wyciągnąć się błogo, zamykając książkę, i rzec: „Och, spędziłem dwie rozkoszne godziny, czytając zajmującą książkę”, słowa te, które sprawiłyby przyjemność matce, Albertynie, Robertowi, budziły w Annie rodzaj niezadowolenia, może po prostu nerwowej niechęci. Moje przyjemności zawsze drażniły ją i nie mogła tego ukryć. Wad tych dopełniały inne, poważniejsze; pewnego dnia, kiedy mówiłem o owym młodym człowieku, będącym niegdyś tak blisko z ich „bandą” w Balbec, tak biegłym w sprawach wyścigów, gier, golfa, a tak ciemnym we wszystkim innym, Anna zaśmiała się szyderczo: „Pan wie, że jego ojciec coś ukradł, omal nie dostał się do kryminału. Chcą brawurować, ale ja z przyjemnością opowiadam to całemu światu. Chciałabym, żeby mnie zaskarżyli o potwarz. Ładne rzeczy mogłabym zeznać!”. Oczy jej błyszczały. Otóż dowiedziałem się, że ojciec młodego człowieka nie dopuścił się żadnego przestępstwa i że Anna wiedziała o tym lepiej od innych. Ale sądziła, że syn wzgardził nią, szukała tedy czegoś, co by go mogło

zaboleć, przynieść mu wstyd, wyroila jakieś zeznania, które miała składać w imaginacji, i póty haftowała sobie różne szczegóły, aż w końcu zatraciła świadomość ich fałszu. Toteż w obecnej fazie (pominawszy nawet krótkie i zapamiętałe nienawiści Anny) byłbym wołał jej nie widywać, choćby z powodu tej niezyczliwej podejrzliwości, która lodowatą i cierpką strefą niechęci okoliła prawdziwą jej naturę — cieplejszą i lepszą. Ale wiadomości, które ona jedna mogła mi dawać o Albertynie, były mi zbyt cenne, abym chciał zaniedbać tak rzadką sposobność ich zdobycia. Anna wchodziła, zamykała drzwi i zaczynała swoją relację. Spotkały przyjaciółkę, o której Albertyna nigdy mi nie wspominała.

— O czym mówiły z sobą?

— Nie wiem, bo skorzystałam z tego, że Albertyna nie jest sama, aby iść kupić włóczki.

— Kupić włóczki?

— Tak, Albertyna prosiła mnie o to.

— Racja więc, żeby nie iść; umyślnie chciała cię oddalić.

— Nie, prosiła mnie o to, zanim spotkałyśmy przyjaciółkę.

— A! — oddychałem z ulgą.

Za chwilę oblegało mnie z powrotem podejrzenie: kto wie, czy Albertyna nie umówiła z góry schadzki z przyjaciółką i nie skombinowała pretekstu, aby z nią zostać sama? Zresztą, skąd pewność, że Anna mówi całą prawdę? Może jest w zмовie z Albertyną? Kochamy — powiadałem sobie niegdyś w Balbec — tym bardziej, im bardziej jesteś zazdrośni o postęпки danej osoby; czujemy, że gdyby nam opowiedziała wszystko, łatwo może wyleczylibyśmy się z miłości. Daremnie ukrywamy zazdrość; osoba, która ją budzi, przenika ją rychło i ma się na baczności. Stara się zmylić nas, ukrywając to, co by nas mogło unieszczęśliwić, i myli nas w istocie, bo o ile ktoś nie ma uwagi wytężonej w tym kierunku, czemu by jakieś obojętne słowa miały zdradzić ukryte w nich kłamstwa; nie odróżniamy tych słów od innych; kobieta mówiła je ze strachem, my słuchamy ich nieuważnie. Później, kiedy znajdziemy się sami, wrócimy do tych słów i nie wydadzą się nam już całkiem zgodne z rzeczywistością. Ale czy je sobie dobrze przypominamy? Rodzi się w nas samorzutna wątpliwość co do ścisłości naszej pamięci, tak jak w pewnych stanach nerwowych nie można sobie przypomnieć, czy się zasunęło rygiel — i to równie za pięćdziesiątym razem, jak za pierwszym; można by bodaj bez końca powtarzać daną czynność, nie osiągając nigdy ścisłego i zbawczego utrwalenia jej w pamięci. Ale tu przynajmniej możemy zamknąć pięćdziesiąty i pierwszy raz drzwi; podczas gdy owe niepokojące słowa żyją w przeszłości w niepewnym brzmieniu, którego nie mamy mocy wskrzesić. Wówczas zwracamy tym baczniejszą uwagę na inne słowa, które nie kryją nic, jedynym zaś lekarstwem — którego nie chcemy — byłoby nie wiedzieć nic, aby nie chcieć wiedzieć lepiej.

Z chwilą gdy nasza zazdrość wyszła na jaw, ta, co jest jej przedmiotem, widzi w niej brak ufności uprawniający oszukiwanie. Zresztą w żądzy dowiedzenia się my pierwsi zaczęliśmy kłamać, oszukiwać. Anna, Aimé przyrzekają nam, że nic nie zdradzą, ale czy dotrzymają? Bloch nie mógł niczego przyrzec, bo nie wiedział. Niech tylko Albertyna porozmawia z nimi, rychło przy pomocy tego, co Saint-Loup nazywał „krzyżowym ogniem”, dowie się, że kłamię, gdy twierdzę, że jestem obojętny na jej postęпки i niezdolny szpiegować. W ten sposób drobny fragment odpowiedzi, jaki mi przyniosła Anna, przez to, że zjawił się po mojej nieskończonej i stałej niepewności (niepewności tego, co robi Albertyna), był zbyt nieokreślony, aby zadać ból; był dla zazdrości tym, czym dla zgrzyoty są początki zapomnienia i ich kojąca mgła. Ale ten fragment odpowiedzi rozdził natychmiast nowe pytania. Zgłębiając cząstkę wielkiej strefy rozciągającej się dokoła mnie, zdołałem jedynie odsunąć owo niepoznawalne, jakim jest dla nas istotne życie drugiej osoby, kiedy je chcemy sobie naprawdę wyobrazić. Wypytywałem dalej Annę, podczas gdy Albertyna, przez dyskrecję i aby mi zostawić wszelką swobodę badania (czy domyślała się czego?), umyślnie długo się przebieiała w swoim pokoju.

— Zdaje mi się, że wujostwo Albertyny bardzo mnie lubią — powiadałem niebacznie, zapominając o charakterze Anny.

Natychmiast ujrzałem, że jej lepka twarz zmienia się; niby sfermentowany sok zdawała się zmaćcona na zawsze. Usta stały się gorzkie. Nie zostało już w Annie nic z owej młodzieńczej wesołości, którą jak cała jej gromadka i mimo swej chorowitości roztacza-



ła w pierwszym roku mego pobytu w Balbec, a która teraz znikła u niej tak szybko. Prawda, że Annie przybyło od tego czasu kilka lat. Ale miałem mimo woli wskrzesić tę wesołość, zanim Anna, która spieszyła się do domu na obiad, pożegnała się ze mną.

— Jest ktoś, kto cię dziś przede mną szalenie chwalił — rzekłem.

Natychmiast promień radości rozświetlił jej oczy: robiła wrażenie, że mnie naprawdę kocha. Unikała mego spojrzenia, ale śmiała się w przestrzeń oczami, które nagle stały się całkiem okrągłe.

— Kto taki? — pytała z naiwnym i łakomym zainteresowaniem.

Wymieniałem osobę: ktokolwiek by to był, Anna czuła się szczęśliwa.

Potem przychodziła godzina rozstania, Anna żegnała się. Albertyna zjawiała się w negliżu, miała na sobie jakiś ładny peniuar krepdeszynowy lub jedną z japońskich sukien, których szczegóły uzyskałem od pani de Guermantes, pewnych zaś dodatkowych wyjaśnień w tej mierze dostarczyła mi pani Swann, w liście zaczynającym się od słów: „Po pańskiej długiej absencji, czytając pański list w przedmiocie moich *tea gown*<sup>1017</sup>, miałam wrażenie, że obcuję z duchem...”.

Albertyna miała na nogach czarne trzewiczki wyszywane brylancikami (Franciszka nazywała je zjadliwie „kapcie”), całkiem podobne do tych, które pani de Guermantes nosiła w domu wieczorem: Albertyna zauważyła to przez okno. Podobnie, trochę później, Albertyna miała pantofelki jedne złożone *chevreau*, drugie szynszylowe, a widok ich był mi słodki, bo jedne i drugie były niby znakiem (inne trzewiczki nie miałyby tej wymowy), że ona mieszka u mnie. Miała też rzeczy nie, pochodzące ode mnie, na przykład piękny złoty pierścionek. Podziwiałem na nim rozpostarte skrzydła orle. „To od ciotki — rzekła. — Mimo wszystko ciocia jest czasem dobra dla mnie. To mnie postarza, bo dała mi go z okazji skończonych dwudziestu lat”.

Albertyna miała do wszystkich tych ładnych rzeczy pociąg o wiele żywszy niż księżna. Jak wszelka przeszkoda utrudniająca posiadanie (na przykład dla mnie choroba, która mi czyniła podróże czymś tak trudnym i upragnionym), ubóstwo, hojniejsze w tym od bogactwa, daje kobietom zamiast toalety, której nie mogą sobie sprawić, pragnienie tej toalety, zawierające jej istotną, szczegółową, głęboką znajomość. Oboje — Albertyna, bo nie mogła sobie pozwolić na te rzeczy, ja, bo zamawiając je, starałem się zrobić jej przyjemność — byliśmy niby dwaj studenci znający z góry obrazy, które zamierzają obejrzyć w Dreźnie lub w Wiedniu. Natomiast bogate kobiety pośród mnóstwa swoich kapeluszy i sukien są jak owi zwiedzający, którym spacer po muzeum — niepoprzedzony żadnym pragnieniem — daje jedynie uczucie oszołomienia, zmęczenia i nudy.

Jakiś toczek, płaszcz sobolowy, peniuar od Douceta z różowo podszitymi rękawami jakiejś nabierały ważności dla Albertyny, która je spostrzegła, zapagnęła ich i dzięki wyłączności i ścisłości swego pragnienia zizolowała je ze wszystkimi szczegółami w próżni, na której się cudownie odcinała podszewka lub wstążka. Toż samo, na inny sposób, osiągałem ja, chodząc do pani de Guermantes dla zdobycia wiedzy, na czym polega odrębność, wyższość, szyk danej rzeczy oraz niepodobny do naśladowania fason wielkiego krawca. Owey wagi ani uroku nie miały te rzeczy z pewnością dla księżnej, sytej, zanim jeszcze nabrała apetytu; i nie miałyby ich dla mnie, gdybym oglądał to wszystko kilka lat wprzód, towarzysząc jakiejś elegantce w nudnej wizycie u krawcowej.

Stopniowo Albertyna sama stawała się elegantką. Bo i każda rzecz, którą dla niej zamawiałem, była w swoim rodzaju najładniejsza, ze wszystkimi wyrafinowaniami godnymi księżnej de Guermantes lub pani Swann, i rzeczy tych Albertyna zaczynała mieć dużo. Ale to nie miało wielkiego znaczenia z chwilą, kiedy każdą z nich pokochała z góry i każdą oddzielnie.

Kiedy ktoś podziwiał kolejno to jednego, to znów innego malarza, może w końcu mieć dla całego muzeum podziw gorący, bo złożony z szeregu wyłącznych w swoim czasie miłości, które wreszcie spotkały się i pogodziły z sobą.

Albertyna nie była zresztą bynajmniej pustą lalką; czytała dużo, kiedy była sama, a mnie czytywała głośno, kiedyśmy byli razem. Zrobiła się nadzwyczaj inteligentna. Powiadała, myśląc się zresztą: „Przeraża mnie myśl, że bez ciebie zostałabym głupia. Nie

<sup>1017</sup>*tea gown* (ang.) — suknia herbaciana, długa, luźna sukienka, zwykle wykonana z cienkiej tkaniny i wykończona koronką, noszona podczas popołudniowych spotkań przy herbacie, popularna na przełomie XIX i XX wieku. [przypis edytorski]

zaprzeczaj. Otworzyłeś mi świat myśli, którego nie podejrzewałam, i to niewiele, czym się stałam, zawdzięczam tylko tobie”.

Widzieliśmy, że podobnie mówiła niegdyś o moim wpływie na Annę. Czy któraś z nich czuła coś dla mnie? I czym były same w sobie, ta Anna, ta Albertyna? Aby się o tym dowiedzieć, trzeba by was unieruchomić, nie żyć już w tym nieustannym oczekiwaniu was, w którym stajecie się wciąż inne; trzeba by was już nie kochać, aby was utrwalić, trzeba by nie znać już waszego nieskończonego i wciąż zaskakującego zjawiania się, o wy, młode dziewczęta, o wciąż drgający promieniu, w którym drżymy, widząc was zjawiające się raz po raz, zaledwie mogąc was poznać w zawrotnej chyżości światła. Tej chyżości nie znalazłbyśmy może, wszystko wydawałoby się nam nieruchome, gdyby głos płci nie kazał nam biec ku wam, wy, złote krople, wciąż tak odmienne i wciąż przechodzące nasze oczekiwanie! Za każdym razem młoda dziewczyna tak mało podobna jest do poprzedniej siebie (ile że z chwilą gdy ją oglądamy, drze w strzępy naszą pamięć o niej i nasze pragnienie), że ciągłość charakteru, jakiego jej użyczamy, jest jedynie fikcją, dogodniejszą formą mówienia. Powiedziano nam, że jakaś piękna dziewczyna jest tkliwa, kochająca, pełna najdelikatniejszych uczuć. Wyobraźnia nasza wierzy temu na słowo: kiedy ujrzemy tę dziewczynę pierwszy raz w puszystym kręgu blond włosów, z tarczą różowej twarzy, niemal lękamy się, że ta zbyt cnotliwa siostra ostudzi nas samą swoją cnotą, że nigdy nie będzie dla nas kochanką, jakiejśmy pragnęli. Ileż zwierzeń, na wiarę tej szlachetności serca, robimy jej od pierwszej godziny; ile projektów snujemy razem! Ale za kilka dni żalujemy tych wynurzeń, bo różane dziewczę odzywa się za drugim razem jak furia lubieżności. W kolejnych fizjonomiach, jakie po kilkudniowej wibracji ukazuje nam przerywane różowe światło, nie jest nawet pewne, czy jakieś zewnętrzne *movimentum*<sup>1018</sup> nie zmieniło wyglądu tych dziewcząt; i to mogło się być zdarzyć z moimi przyjaciółkami z Balbec.

Sławią nam słodycz, czystość jakiejś dziewicy. Ale potem ów ktoś czuje, że coś ostrego trafiłoby nam lepiej do smaku, i radzi jej, aby się okazała śmielsza. Sama w sobie, czy była raczej tą niż tamtą? Może nie, ale była zdolna dostroić się do tyluż rozmaitych możliwości w zawrotnym biegu życia. Z inną, której cały powab mieścił się w czymś nieubłaganym (co spodziewaliśmy się jednak ugiąć), jak na przykład owa groźna skoczka w Balbec, muskająca stopami czaszki przerażonych starszych panów, jakież zawód! W chwili gdy jej mówimy czułości podsyćcane wspomnieniem tyłu jej brutalności dla innych, oglądamy nagle inną twarz i słyszymy na wstępie zwierzenie, że jest nieśmiała, że ze strachu nie umie się znaleźć z kimś widzianym po raz pierwszy i że dopiero po jakichś dwóch tygodniach mogłaby z nami rozmawiać spokojnie. Stał zmieniła się w bawelnę, nie mamy czego próbować kruszyć, skoro sama z siebie traciła wszelki odpór. Sama z siebie, ale może z naszej winy, bo nasze czułe słowa skierowane do wcielonej Brutalności, podsunęły jej — może bez specjalnego wyrachowania z jej strony — tkliwe akcenty.

To, co nam sprawiło zawód, nie było zresztą tak niezręczne, wdzięczność bowiem za tyle słodyczy miała nas może bardziej zobowiązać niż rozkosz poskromienia zuchwalstwa. Zapewne może przyjsć dzień, w którym nawet tym promiennym dziewczętom przyznamy charaktery bardzo określone, ale to dlatego, że przestaną nas interesować, że ich widok nie będzie już dla naszego serca czymś odmiennym od naszych nadziei, czymś, co zostawi w tym sercu wstrząs wciąż nowego wcielenia. Ciągłość ich będzie wynikiem naszej obojętności, która je powierzy sądowi intelektu. Intelekt zresztą nie wyda o wiele kategoryczniejszego wyroku; uznawszy bowiem, że jakiejś wady, przeważającej u jednej, druga na szczęście nie ma, spostrzeżemy, iż wadę tę przeciwważył jakiś szacowny przymiot. Tak iż z fałszywego sądu inteligencji (wkraczającej dopiero wówczas, kiedy się przestajemy kimś interesować) wyjdą określone i stałe charaktery młodych dziewcząt, mówiące nam nie więcej niż zdumiewające, codziennie oglądane twarze, kiedy w oszalałej chyżości naszego oczekiwania owe dziewczęta ukazywały się co dnia, co tygodnia, zbyt różne od siebie na to, abyśmy mogli — w tym niepowstrzymanym pędzie — klasyfikować i wyznaczać rangi. Co się tyczy naszych uczuć, mówiliśmy aż nazbyt często o nich, aby musieć powtarzać, że miłość bywa często jedynie skojarzeniem obrazu młodej dziewczyny (inaczej stałaby się nam rychło nieznośna) z biciem serca nieodłącznym od nieskończo-

<sup>1018</sup>*movimentum* (łac., r.n.) — ruch. [przypis edytorski]

nego, daremnego oczekiwania, gdy panienka „wystawiła nas do wiatru”. Wszystko to jest prawdą nie tylko dla młodych ludzi z przerostem wyobraźni wobec zmiennych młodych dziewcząt.

W tym momencie naszego opowiadania, zdaje się (dowiedziałem się o tym później), że siostrzenica Jupiena zmieniła zdanie o Morelu i o panu de Charlus. Szofer mój, podbijając bębenka jej miłości do Morela, zachwalał bezmiar delikatności skrzypka, w który była aż nazbyt skłonna wierzyć. Z drugiej strony Morel nie przestawał jej malować roli kata, jaką pan de Charlus odgrywał w stosunku do niego, co ona, nie odgadując miłości barona, przypisywała wadom jego charakteru. Musiała zresztą odczuć tyrańską obecność pana de Charlus przy wszystkich ich spotkaniach. A na poparcie tego wszystkiego słyszała, jak panie z towarzystwa mówiły o okrutnej złośliwości barona. Otóż od niedawna poglądy jej przeobraziły się całkowicie. Odkryła u Morela (nie przestając go kochać dlatego) otchłanie złości i perfidii, wyrównane zresztą częstą słodyczą i prawdziwą tklivością; a u pana de Charlus niezaprzeczoną i olbrzymią dobroć, pomieszaną z brutalstwem, którego nie znała. Tak więc o tym, czym byli naprawdę skrzypek i jego protektor, nie miała jaśniejszego sądu niż ja o Annie, którą wszakże widywałem co dzień, i o Albertynie, która żyła ze mną.

Wieczorem, o ile Albertyna nie czytała głośno, raczyła mnie muzyką, grała ze mną w warcaby lub rozmawiała. Przerzywałem zwykle i warcaby i rozmowę, aby ją całować. Stosunki nasze miały prostotę, która czyniła je wytchnieniem. Sama pustka życia Albertyny rodziła w niej gorliwość i uległość w jedynych rzeczach, jakich od niej żądałem. Za tą dziewczyną — niby za purpurowym światłem, kładącym się u stóp firanek w Balbec, podczas gdy na dworze buchał koncert orkiestry — mieniły się perłowo modre falowania morza. Ona, w której pojęcie mnie żyło tak poufale, że po ciotce byłem może osobą, którą najmniej odróżniała od siebie samej, czy to była w istocie ta dziewczyna, którą ujrzałem pierwszy raz w Balbec, w płaskiej czapeczce, z natarczywymi i roześmianymi oczami, nieznaną jeszcze, dwuwymiarową jak sylweta odcinająca się na fali? Kiedy odnajdziemy takie obrazy przechowane w pamięci, zdumiewamy się ich różnością od istoty, którą znamy; pojmujemy, jaką pracą nad modelowaniem jej wykonuje co dnia przyzwyczajenie. W uroku, jaki Albertyna zachowała w Paryżu, przy moim kominku, żyło jeszcze pragnienie, jakie we mnie obudził zachwyt i kwitnący orszak rozwijający się wzdłuż plaży. Jak Rachel zachowała dla Roberta, nawet kiedy jej kazał opuścić teatr, urok teatru, tak w tej Albertynie, zamkniętej na kształt mniszki w moim domu, z dala od Balbec, skąd ją pospiesznie zabrałem, przetrwało wzruszenie, zamęt klasyfikacji społecznej, niespokojna próżność, wędrowne pragnienia z życia nadmorskich kąpielisk.

Albertyna żyła w zupełnym zamknięciu; czasem nie zapraszałem jej nawet wieczorem do swego pokoju. Ta Albertyna, za którą niegdyś wszyscy gonili, którą tak trudno było mi złapać pomykającą na rowerze, której nawet windziarz nie umiał mi sprowadzić, ledwie zostawiając mi cień nadziei, i na którą mimo to czekałem całą noc, czyż nie była tam, w Balbec, niby wielka artystka płomiennej plaży, wlokąca smugę zazdrości, kiedy się posuwała po tej naturalnej scenie, nie odzywając się do nikogo, potrącając miejscowych bywalców, panując nad przyjaciółkami. I ta upragniona aktorka czyż nie była tą samą, która wydarła przeze mnie scenie, zamknięta u mnie, znajdowała się — zabezpieczona od pragnień ludzkich szukających jej odtąd na próżno — to w moim, to w swoim pokoju, gdzie zabawiła się rysunkiem lub cyzelerstwem.

Bez wątpienia w pierwszych dniach w Balbec zdawało się, że Albertyna porusza się na płaszczyźnie równoległej do tej, na której żyłem, ale zbliżającej się do niej (w ów dzień u Elstira), potem zespolonej z nią, w miarę postępu naszych stosunków w Balbec, w Paryżu, i znowu w Balbec. Cóż za różnica zresztą, te dwa obrazy Balbec — za pierwszym i następnym pobytom — obrazy utworzone z tych samych will, z których wychodziły te same dziewczęta, nad tym samym morzem! W przyjaciółkach Albertyny z drugiego pobytu, tak dobrze mi znanych, o zaletach i wadach tak ostro wyrytych w ich twarzach, czyż mogłem odnaleźć owe świeże i tajemnicze nieznanome, którym niegdyś wystarczało zaskrzywić na piasku furtkę w ogrodzie i musnąć nią drżące tamaryszki, aby przypawić moje serce o drżenie! Wielkie ich oczy zresorbowały się później, z pewnością dlatego że dziewczęta przestały być dziećmi; ale także dlatego że te uroczyste nieznanome, czarujące aktorki owego romantycznego pierwszego sezonu, co do których nie przestawałem zbierać informacji, nie miały już dla mnie tajemnicy. Stały się posłuszne moim kaprysom, ot,

zwykle świeżo zakwitłe dziewczęta, wśród których czulem się nie na żarty dumny, żem uszczknął i zabrał sobie najpiękniejszą różę.

Między tymi dwiema dekoracjami Balbec, tak różnymi od siebie, było kilka lat paryskich, których ciąg znaczył się tyłoma wizytami Albertyny. Widziałem ją w rozmaitych latach mego życia i w rozmaitym charakterze, co mi pozwalało odczuć piękność dzielących owe lata przestrzeni — długie okresy, w których nie widywałem jej, na których przezroczyściej głębi znajdująca się przede mną różowa istota rysowała się z tajemniczymi cieniami i z potężną plastyką. Wynikała ona zresztą ze zsumowania nie tylko kolejnych obrazów wyrażających dla mnie Albertynę, ale także wielkich przymiotów inteligencji i serca, wad charakteru — i tych i tych na równi przeze mnie niepodjęrzewanych — jakimi Albertyna, w tym kwitnieniu, mnożeniu samej siebie w mięsistej bujności ciemnych kolorów wzbogaciła swoją naturę, niegdyś prawie nijaką, a teraz trudną do zgłębienia. Bo istoty, nawet te, o których tyle marzyliśmy, że się nam wydają tylko obrazem, jakąś odcinającą się na zielonkawym tle postacią Benozza Gozzoli,<sup>1019</sup> wobec której byliśmy skłonni wierzyć, że wszystkie różnice zależały od punktu, z jakiego patrzyliśmy na nie, od odległości, jaka nas od nich dzieliła, od oświetlenia wreszcie — istoty te, zmieniając się w stosunku do nas, zmieniają się i same w sobie. W twarzy, niegdyś tak po prostu odcinającej się na tle morza, nastąpiło jakby wzbogacenie, okrzepnięcie, przyrost objętości. Zresztą nie tylko przedwieczne morze żyło dla mnie w Albertynie, ale czasem i uspienie morza na brzegu w nocie księżycowe.

Bo czasem, kiedy wstałem, aby iść po książkę do gabinetu ojca, Albertyna mówiła, że chce się przez ten czas wyciągnąć. Była tak zmęczona swoim rannym i popołudniowym spacerem, że nawet gdym opuścił pokój tylko na chwilę, zastawałem ją uspioną: nie budziłem jej. Leżąc jak długa na łóżku, w pozie tak naturalnej, że nikt by jej nie wymyślił, robiła wrażenie długiej kwitnącej lodygi. I tak było w istocie: jak gdyby, śpiąc, stała się rośliną, odnajdywałem w owych chwilach przy niej zdolność marzenia, którą miałem tylko w jej nieobecności. Dzięki temu sen jej ziszczał poniekąd możliwość miłości. Będąc sam, mogłem myśleć o niej, ale brakowało mi jej, nie posiadałem jej. Gdy była obecna, mówiłem do niej, ale byłem zbyt oderwany od samego siebie, aby móc myśleć. Gdy spała, nie potrzebowałem mówić, wiedziałem, że nie patrzy na mnie, nie musiałem już żyć na powierzchni siebie.

Zamykając oczy, tracąc świadomość, Albertyna zrzucała z siebie kolejno cechy swego człowieczeństwa, przynosząc mi tyle zawodów od dnia, gdy ją poznałem. Ożywiało ją już tylko nieświadome życie roślin, drzew, życie bardziej inne od mojego, dziwniejsze, a mimo to bardziej należące do mnie. Jej „ja” nie wymykało się co chwilę — jak wówczas, kiedyśmy rozmawiali — ujściami zatajonej myśli i spojrzenia. Wciągnęła w siebie wszystko, co z niej było zewnątrz; schroniła się, zamknęła, streściła w swoim ciele. Trzymając ją w rękach pod swoim spojrzeniem, miałem wrażenie, że ją posiadam całą; wrażenie, którego nie miałem, kiedy nie spała. Życie jej było mi podległe, wionęło ku mnie lekkim oddechem.

Słuchałem szeptu tej tajemniczej emanacji, którą był jej sen, łagodnej jak wietrzyk morski, czarodziejskiej jak blask księżycy. Póki trwał, mogłem marzyć o niej, a jednak na nią patrzeć; kiedy zaś sen stawał się głębszy, mogłem dotykać jej, całować ją. To, czegom doznawał wówczas, to była miłość w obliczu czegoś tak czystego, tak niematerialnego w odczuwaniu, tak tajemniczego, jak gdybym się znajdował wobec nieożywionych piękności natury. I w istocie, kiedy zasnęła nieco głębiej, przestawała być jedynie rośliną; sen jej, nad którego brzegiem marzyłem ze świeżą rozkoszą, nigdy niezdolny się nią znużyć, mogąc się nią sycić nieskończenie, to był dla mnie cały krajobraz. Sen jej kładł koło mnie coś równie spokojnego, równie zmysłowo rozkosznego, jak owe nocie księżycowe w zatoce Balbec, spokojnej wówczas jak jezioro, kiedy gałęzie ledwie się poruszają, kiedy wyciągnąwszy się na piasku, słuchałoby się bez końca łamiącej się fali.

Wchodząc do pokoju, zatrzymałem się w progu, nie śmiąc zakłócać ciszy; nie słyszałem też innego szmeru prócz oddechu zamierającego na jej wargach w regularnych odstępach, niby odpływ morza, ale bardziej senny i łagodny. I w chwili gdy moje ucho przejmowało ten boski szmer, miałem uczucie, że skupia się w nim cała osoba, całe ży-

<sup>1019</sup> *Gozzoli, Benozzo* (1420–1497) — włoski malarz renesansowy, znany przede wszystkim z trzech malowideł ściennych z orszakiem Trzech Króli w kaplicy Palazzo Medici we Florencji. [przypis edytorski]

cie uroczej branki, spoczywającej tu przede mną. Pojazdy mijaly hałaśliwie ulicę, a czoło Albertyny pozostawało równie gładkie i czyste, oddech równie lekki, ograniczony do najprostszego wydychania koniecznego powietrza. Potem widząc, że nie zmacę jej snu, zbliżałem się ostrożnie, siadałem na krześle obok łóżka, potem na samym łóżku.

Spędzałem urocze wieczory na rozmowie i grach z Albertyną, ale nigdy nie były one równie słodkie jak widok jej snu. Mimo iż gawędząc, grając w karty, miała jakąś naturalność, której żadna aktorka nie umiałaby naśladować, sen jej był dla mnie naturalnością wyższego rzędu. Włosy jej, opadłszy wzdłuż różowej twarzy, rozsypały się na łóżku; czasem jakiś odosobniony i prosty kosmyk dawał ten sam efekt malarski, co owe szczupłe i blade księżycowe drzewa, wznoszące się w głębi rafałowskich obrazów Elstira. O ile wargi Albertyny były zamknięte, w zamian za to z punktu, z którego patrzyłem, powieki jej zdawały się tak nieuszczelne, że mógłbym niemal zadać sobie pytanie, czy ona naprawdę śpi. Ale i tak te spuszczone powieki dawały twarzy ową doskonałą ciągłość, nieprzerwaną oczami. Są istoty, których twarz nabiera niezwyklej piękności i majestatu wówczas, gdy jest pozbawiona spojrzenia.

Mierzyłem oczami Albertynę leżącą przede mną. Chwilami przebiegał ją lekki i niewytłumaczony dreszcz, niby owe liście, którymi wstrząśnie przez chwilę niespodziany wietrzyk. Dotykała swoich włosów, po czym nie trafiwszy widocznie tam, gdzie chciała, sięgała jeszcze do nich ruchami tak celowymi i rozmyślnymi, iż byłem pewien, że się obudzi. Nie; uspokajała się we śnie, który się nie przerwał. Odtąd pozostawała nieruchoma. Złożyła rękę na piersi gestem tak naiwnie dziecięcym, że patrząc na nią, musiałem zdławić uśmiech, o jaki swoją powagą, niewinnością i wdziękiem przyprawiają nas małe dzieci.

Ja, który znałem kilka Albertyn w jednej, miałem wrażenie, że widzę jeszcze ich wiele, wszystkie spoczywające koło mnie. Brwi jej, sklezione jakoś inaczej niż zwykle, okalały gałki powiek niby zaciszne gniazdo alcjona. Rasy, atawizmy, skażenia drzemały w jej twarzy. Ilekroć przesunęła głowę, stwarzała nową kobietę, często niepodejrzewaną przeze mnie. Zdawało mi się, że posiadam nie jedną, ale niezliczone młode dziewczyny. Oddech jej, coraz to głębszy, podnosił teraz regularnie pierś, a na piersi skrzyżowane ręce, perły przesuwane rozmaicie, choć tym samym ruchem, niby owe łodzie, owe cumujące łańcuchy, które potraça fala. Wówczas, czując, że zasnęła całkiem, że nie obiję się o rafy świadomości pokryte teraz pełnym morzem głębokiego snu, śmiało i cicho rzucałem się na łóżko, kładłem się koło niej, obejmowałem ją ramieniem, kładłem wargi na jej twarzy i na jej sercu, dotykałem jej ciała ręką, która została wolna i którą, tak samo jak perły, podnosił oddech Albertyny; ja sam poruszałem się lekko od jej regularnego ruchu: płynąłem na śnie Albertyny.

Czasem dawał mi jej sen kosztować rozkoszy mniej czystej. Nie potrzebowałem na to żadnego ruchu, wyciągałem nogę wzdłuż jej nogi niby wiosło, które się puszcza wolno i które od czasu do czasu wprawia się w lekkie drganie, podobne do przerywanego uderzenia skrzydeł u ptaków śpiących w powietrzu.

Patrząc na nią, wybierałem tę perspektywę jej twarzy, której się nie widywało nigdy, a która była tak piękna. Można ostatecznie pojąć, że listy, które ktoś do nas pisze, są mniej więcej podobne do siebie i rysują obraz na tyle różny od znajomej osoby, że stanowią drugą osobowość. Ale o ileż dziwniejsze jest, aby kobieta była zrośnięta, niby Rosita i Doodica<sup>1020</sup>, z drugą kobietą, której odmienna piękność każe wnosić o innym charakterze, i że dla ujżenia jednej trzeba było stanąć z profilu, a dla drugiej *en face*<sup>1021</sup>.

Szmer jej oddechu, stając się silniejszy, mógł dać iluzję zdyszenia rozkoszą, i kiedy moja rozkosz dobiegła kresu, mogłem ucałować Albertynę, nie przerwawszy jej snu. Zdawało mi się w tych chwilach, że ją posiadałem pełniej, jak bezświadomą i pozbawioną oporu cząstkę niemej przyrody. Nie troszczyłem się o słowa, jakie się jej czasami wydzieły przez sen, znaczenie ich umykało mi się; jakkolwiek zresztą oznaczałyby nieznaną osobę, na mojej to ręce, na mojej twarzy, ręka jej, niekiedy ożywiona lekkim dreszczem,

<sup>1020</sup>Rosita Neik (1888–1903) i Doodica Neik (1888–1902) — bliźniaczki syjamskie z Indii, zrośnięte mostkiem, od 4 roku życia pokazywane w Cyrku Barnuma w Europie i USA, rozdzielone chirurgicznie w 1902. [przypis edytorski]

<sup>1021</sup>*en face* (fr.) — twarzą na wprost. [przypis edytorski]

zaciskała się na chwilę. Syciłem się jej snem z miłością bezinteresowną, kojącą, tak jak słuchałem przez godziny całe plusku fali.

Może trzeba, aby jakaś istota zdolna nam była zadać wiele cierpienia, na to, aby w godzinach pauzy dawała nam ten sam kojący spokój, jaki daje natura. Nie potrzebowałem odpowiadać Albertynie, jak wówczas kiedyśmy rozmawiali; a gdybym nawet mógł milczeć, jak czyniłem również, gdy ona mówiła, jednak słuchając jej, nie zstępowałem w nią równie głęboko. Wciąż słysząc, chwytając chwila po chwili, niby ledwie wyczuwalny wietrzyk, kojący szmer jej czystego oddechu, miałem przed sobą, dla siebie całe fizjologiczne istnienie; i byłbym tak trwał, patrząc na nią, słuchając jej, równie długo, jak długo niegdyś leżałem wyciągnięty na plaży, przy blasku księżyca.

Czasami można by rzec, że morze się wzdyma od wichru, że burza daje się czuć aż w zatoce, i zaczynałem jak ona słuchać tego chrapliwego oddechu. Czasem, kiedy Albertynie było zbyt gorąco, zdejmowała, już prawie śpiąc, kimono i rzucała je na fotel. Spała, a ja powiadałem sobie, że wszystkie jej listy znajdują się w kieszonce tego kimona, kładła je tam zawsze. Podpis, ślad umówionej schadzki wystarczyłyby, aby dowieść kłamstwa lub rozproszyć podejrzenie. Kiedy czułem, że Albertyna śpi głęboko, wówczas, oddalając się od łóżka, na którym od dawna oglądałem ją bez ruchu, posuwałem się, zdjęty żarliwą ciekawością; czułem, że sekret jej życia, wiotki i bezbronny na tym fotelu, jest tuż. Może czyniłem to i dlatego, że patrzeć bez ruchu na to, jak ktoś śpi, nuży w końcu. I tak, wciąż odwracając się, aby sprawdzić, czy się Albertyna nie budzi, posuwałem się na palcach aż do fotela. Przystawałem, długo patrzyłem na kimono, jak wprzód na Albertynę. Ale (może to był błąd) nigdy nie ruszyłem kimona, nie sięgnąłem do kieszeni, nie spojrzałem na listy. W końcu widząc, że się nie zdecyduje, wracałem, wciąż na palcach, do łóżka i znów patrzyłem na śpiącą, na tę, która nie powiedziała mi nic, podczas gdy na poręczy fotela widziałem kimono, które może powiedziałyby mi wiele. I tak jak ludzie wynajmują za sto franków dziennie pokój w *Hotél de Balbec*, aby oddychać morskim powietrzem, tak ja uważałem za naturalne wydawać więcej jeszcze na Albertynę, skoro miałem jej oddech tuż koło twarzy, w jej ustach, które rozchylałem moimi, dokąd przez mój język wnikało jej życie.

Ale tej rozkoszy patrzenia jak Albertyna śpi, rozkoszy równie słodkiej jak czuć jej życie, kładła kres inna przyjemność: mianowicie patrzeć jak się budzi. Rozkosz ta streszczała w głębszym i bardziej tajemniczym stopniu przyjemność, że ona mieszka u mnie. Nieraz po południu, kiedy Albertyna wysiadała z powozu, słodko mi było myśleć, że ona wraca do mojego mieszkania. Kiedy z głębin snu przebywała ostatnie stopnie sennych marzeń, było mi jeszcze milej, że to w moim pokoju budzi się do świadomości i życia, że pyta przez chwilę samej siebie: „Gdzie ja jestem?” i że gdy widzi otaczające ją przedmioty, lampę, której blask przyprawia ją o lekkie mruganie, stwierdzając, że się budzi u mnie, może sobie odpowiedzieć, że jest u siebie. W owej pierwszej rozkosznej chwili niepewności, miałem wrażenie, że ją tym pełniej biorę w posiadanie, skoro (zamiast żeby po wyjściu na miasto wracała do swojego pokoju) mój pokój — z chwilą gdy go Albertyna pozna — miał ją objąć, zawrzeć, bez żadnego śladu zmieszania w jej oczach, tak spokojnych, jak gdyby wcale nie spała.

Wahania pierwszych chwil przebudzenia, wyrażające się w milczeniu Albertyny, nie odbijały się w jej spojrzeniu. Z chwilą gdy odzyskiwała mowę, powiadała: „Mój” albo „Drogi mój”, po czym następowało moje imię, co w razie gdybym opowiadającemu dał imię autora tej książki, brzmiałoby „Mój Marcel” albo „Drogi mój Marcel”. Odtąd nie pozwalałem już, aby ktoś w rodzinie, nazywając mnie też „drogim”, odbierał rozkosznym słówkom Albertyny ich jedność. Mówiąc tak, robiła minkę, którą sama z siebie zmieniała w pocałunek. I równie szybko jak niedawno zasnęła, tak szybko też budziła się.

Tak jak moje przemieszczenie w czasie, jak fakt patrzenia na młodą dziewczynę siedzącą koło mnie, przy lampie oświetlającej ją inaczej niż słońce, wówczas gdy się posuwała nad morzem, tak samo ten realny przyrost wartości, samoistny rozwój Albertyny nie stanowiły ważnej przyczyny, różnicy między moim patrzeniem na nią teraz a niegdyś w *Balbec*. Więcej lat mogłoby oddzielić te dwa obrazy, nie sprowadzając równie kompletnej zmiany; owa zmiana — zasadnicza i nagła — powstała w chwili, kiedym się dowiedział, że Albertyna chowała się niemal u przyjaciółki panny *Vinteuil*. O ile niegdyś podniecała mnie tajemnica kryjąca się w oczach Albertyny, obecnie byłem szczęśliwy jedynie

w chwilach, kiedy z tych oczu, nawet z tych policzków wyrazistych jak oczy, dopiero co tak słodkich, ale wnet nachmurzonych, zdołałem wygnać wszelką tajemnicę.

Obrazem, którego szukałem, w którym odpoczywałem, z którym byłbym chciał umrzeć, nie była już Albertyna mająca nieznanne życie, ale Albertyna znana mi tak dobrze, jak tylko możliwe (i dlatego ta miłość nie mogła być trwała, chyba żeby została nieszczęśliwa, zasadniczo bowiem nie zaspokajała potrzeby tajemnicy); Albertyna nieodbijająca dalekiego świata, ale niepragnąca — były chwile, w których w istocie tak się zdawało — niczego innego jak być ze mną, całkiem podobna do mnie, Albertyna stanowiąca obraz tego, co właśnie było moje, nie zaś czegoś nieznanego. Kiedy miłość urodziła się tak z godziny trwogi w stosunku do jakiejś istoty; kiedy się urodziła z niepewności, czy się ją da zatrzymać lub czy się wymknie, wówczas miłość ta nosi znamię wstrząsu, który ją stworzył, i bardzo mało przypomina to, cośmy widzieli dotąd w tej istocie. Moje pierwsze wrażenia wobec Albertyny na brzegu fal mogły po trosze przetrwać w mojej miłości do niej; w rzeczywistości jednak, owe dawniejsze wrażenie zajmują jedynie skąpo miejsca w tego rodzaju miłości; taka miłość w swojej sile, cierpieniu, w swojej potrzebie słodczy i ucieczce ku spokojnemu i kojącemu wspomnieniu, gdzie chciałoby się trwać i niczego już więcej nie dowiedzieć się o ukochanej, nawet gdyby było można dowiedzieć się czegoś wstrętnego — więcej nawet, chciałoby się ufać jedynie owym dawniejszym wrażeniom — taka miłość stworzona jest z całkiem czego innego!

Czasem gasiłem światło, zanim Albertyna weszła. Wówczas, w ciemności, ledwie prowadzona blaskiem żarzącego się polana, kładła się koło mnie. Rozpoznawały ją tylko moje ręce, moje policzki; oczy moje nie widziały jej, te oczy, które często bały się ją ujrzyć odmienioną. Tak iż dzięki temu oślepieniu mojej miłości Albertyna czuła się może bardziej zanurzona w tkliwości niż zazwyczaj. Innym razem rozbierałem się, kładłem, Albertyna siedziała na łóżku i podejmowaliśmy partyjkę lub rozmowę przerywaną pocałunkami. Jedynie pożądanie każe się nam interesować życiem i charakterem danej osoby; w pożądanu zaś pozostajemy wierni własnej naturze, mimo iż porzucając przy tym kolejno rozmaite kochane przez nas osoby. Tak więc kiedy raz, w chwili gdym całował Albertynę, nazywając ją swoją dziewczynką, spostrzegłem w lustrze smutny i namiętny wyraz własnej twarzy, podobnej do tej, jaką byłaby niegdyś przy Gilbertcie, o której już nie pamiętałem, podobnej do twarzy, jaką miałbym może kiedyś przy innej kobiecie, gdybym miał kiedy zapomnieć Albertynę, uczułem, że ponad kwestią osoby (instynkt chce, abyśmy uważali „tę obecną” za jedynie prawdziwą) dopełniam w tej chwili rytuału żarliwej i bolesnej dewocji, kultu młodości i piękności Kobiety. A mimo to z tym pragnieniem, składającym swoje *ex voto*<sup>1022</sup> młodości, a także ze wspomnieniami Balbec, mieszało się w tej mojej potrzebie trzymania tak co wieczór Albertyny przy sobie coś, co — o ile nie było całkowicie nowe w moim życiu — było dotychczas obce bodaj mojemu życiu miłosnemu.

Była to moc ukojenia, taka jakiej nie doznałem od odległych wieczorów w Combray, kiedy pochylona nad moim łóżkiem matka przynosiła mi spokój w pocałunku. Z pewnością dziwiłbym się bardzo w owym czasie, gdyby mi powiedziano, że nie jestem całkiem dobry, a zwłaszcza że będę się kiedykolwiek starał pozbać kogoś przyjemności. Widocznie licho znałem wówczas samego siebie, bo przyjemność trwałego posiadania Albertyny u siebie w domu była dla mnie o wiele wątpliwsza niż przyjemność odcięcia jej od świata, gdzie każdy mógł się nią cieszyć z kolei, przyjemność spętania kwitnącej młodej dziewczyny, która jeżeli nie dawała mi wiele szczęścia, pozbawiała go bodaj innych. Ambicja, sława zostawiłyby mnie obojętnym. Jeszcze mniej byłem zdolny odczuwać nienawiść. A jednak, bądź jak bądź, miłość fizyczna była dla mnie tryumfem nad szeregiem współzawodników. Wciąż muszę to podkreślać: to było przede wszystkim ukojenie.

Nic to, że zanim Albertyna wróciła, wątpiłem o niej, wyobrażałem ją sobie w pokoju w Montjouvain; kiedy siadła w peniuarze na wprost mego fotela lub kiedy, najczęściej, wyciągnąłem się na łóżku, składałem moje wątpienia w niej, oddawałem je jej, aby mnie od nich uwolniła, z poddaniem wierzącego człowieka, który odmawia pacierz. Przez cały wieczór mogła, zwinięta psotnie w kłębek na łóżku, bawić się ze mną niby duża kotka;

<sup>1022</sup>*ex voto* (łac.) — jako wotum, tj. jako symboliczny przedmiot, umieszczony w kościele w wyniku uroczystego zobowiązania, w ramach dziękczynienia lub ofiary przebłagalnej. [przypis edytorski]

różowy nosek, który kurczyła jeszcze zalotnym spojrzeniem, filuternym, jak bywa u tłuścioszek, dawał jej mince coś kapryśnego, podnieconego; kiedy strząsnęła pukiel długich czarnych włosów na policzek niby z różowego wosku i kiedy, przymknąwszy oczy, rozkładając ramiona, mówiła spojrzeniem: „Rób ze mną, co zechcesz”; kiedy w chwili gdy miała mnie opuścić, zbliżała się, aby mi rzec dobranoc, całowałem rodziną niemal słodczych tych policzków po obu stronach jej pełnej szyi, która wówczas nigdy nie wydawała mi się dość ciemna ani dość gładka, jak gdyby te materialne przymioty miały u Albertyny związek z lojalnością i dobrocią.

Teraz z kolei Albertyna mówiła mi dobranoc. Całowała mnie z dwóch stron w szyję, przy czym włosy jej pieściły mnie jak skrzydło o ostrych i miękkich piórach. Mimo iż te dwa pocałunki pokoju — matki i Albertyny — były od siebie tak różne, kiedy Albertyna wsuwała język w moje usta — czyniąc mi dar ze swego języka, niby dar Ducha Świętego — dawała mi jakby wiatyk<sup>1023</sup>, zostawiała mi zapas spokoju, prawie równie słodki, jak kiedy matka kładła wieczorem w Combray wargi na moim czole.

— Czy wybierzesz się z nami jutro, złośniku? — pytała przed rozstaniem.

— Dokąd jedziecie?

— To będzie zależało od pogody i od ciebie. Czy napisałeś bodaj coś dzisiaj, kochanie? Nie? No, w takim razie, czy warto było wyrzekać się spaceru! Powiedz, prawda, kiedy wróciłam, poznałeś moje kroki, domyśliłeś się, że to ja?

— Naturalnie. Czy można by się omylić, czy można by nie poznać, wśród tysiąca, kroków swojej kuropatewki? Niech mi pozwoli rozruc się, zanim się położy, to mi sprawi taką przyjemność. Jesteś taka milusia i taka różowa w tej bieli koronek.

Taka była moja odpowiedź: pośród zwrotów zmysłowych łatwo poznać inne, właściwe matce i babce, bo stopniowo stawałem się podobny do wszystkich krewnych, do ojca, który — wprawdzie na inny sposób, bo jeżeli się pewne rzeczy powtarzają, to z wielkimi odmianami — tak bardzo się interesował pogodą danego dnia; i nie tylko do ojca, ale coraz więcej do cioci Leonii. Inaczej Albertyna mogłaby być dla mnie jedynie racją do spacerów, dla tego aby jej nie puszczać samej, bez kontroli. Z zamarynowaną w dewocji cicią Leonią nie miałem w swoim mniemaniu ani jednego punktu wspólnego, ja, tak spragniony rozkoszy, diametralnie różny na pozór od tej maniaczki, niezdolnej zaznać żadnej przyjemności i odmawiającej przez cały dzień różaniec; ja, tak gryzący się tym, że nie mogę zostać literatem, podczas gdy ona była jedyną osobą w rodzinie niezdolną jeszcze zrozumieć, że czytać to jest coś innego niż spędzać czas „na zabawie”; dzięki czemu nawet około Wielkiej Nocy lektura była dozwolona w niedzielę, kiedy wszelkie poważne zajęcia jest wzbronione, iżby ten dzień był całkowicie poświęcony modlitwą. Otóż mimo iż co dzień czerpałem racje w specjalnym niedomaganiu, które mnie tak często więziło w łóżku, jakaś istota, nie Albertyna, nie osoba, którą kochałem, ale jakaś istota mająca nade mną większą władzę od istoty kochanej, przeniosła się we mnie, tak despotyczna, że czasem kazała zmiłknąć moim zazdrośnym podejrzeniom lub bodaj wzbraniała mi sprawdzić, w jakim stopniu są usprawiedliwione; a istotą tą była ciocia Leonia. I nie tylko stawałem się przesadnie podobny do ojca, tak dalece, że nie poprzestawałem jak on na sprawdzaniu barometru, ale sam się stawałem żywym barometrem; nie tylko ciocia Leonia zmuszała mnie do obserwowania pogody z pokoju lub nawet z łóżka; oto teraz mówiłem do Albertyny czasem jak dziecko, jakim byłem w Combray, mówiąc do matki, to znów tak, jak mówiła do mnie babka.

Kiedyśmy przekroczyli pewien wiek, dusza dziecka, którym byliśmy niegdyś, i dusza zmarłych, z których się wiemy, rzucają nam garściami swoje bogactwa i swoje złe uroki, pragnąc mieć udział w naszych nowych uczuciach, w które, zacierając dawny obraz, przetapiamy wszystko tamto. I tak cała moja przeszłość od najdawniejszych lat i poprzez owe lata przeszłość rodziców wlewały w moją nieczystą miłość do Albertyny słodczy synowskiej i macierzyńskiej zarazem czułości. Począwszy od pewnej godziny, przeznaczone nam jest przyjmować wszystkich naszych krewnych, przybyłych z tak daleka i skupionych dokoła nas.

<sup>1023</sup>wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]



Zanim mnie Albertyna usłuchała i pozwoliła mi zdjąć sobie trzewiki, rozchyliłem jej koszulę. Dwie drobne, wysoko osadzone piersi były tak okrągłe, że robiły nie tyle wrażenie integralnej części jej ciała, ile dojrzewających w tym miejscu owoców; a jej brzuch (kryjąc miejsce, które mężczyzną szpeci niby hacel<sup>1024</sup> tkwiący jeszcze w odpakowanym posągu) zamykał się u spojenia ud dwiema bruzdami o krzywiznie łagodnej, kojącej i zacisznej, niby linia horyzontu, gdy słońce znikło.

Zdejmowała buciki i kładła się koło mnie.

O, wzniosłe gesty Mężczyzny i Kobiety, w których to, co Stwórca rozdzielił, sili się połączyć w niewinności pierwszych dni i z pokorą gliny; Ewa zdziwiona i uległa wobec Mężczyzny, przy którego boku się budzi, jak on sam, jeszcze samotny, zdziwiony i uległy był wobec Boga, który go ulepił. Albertyna zaplatała ręce za czarnymi włosami, wyprężając biodro, opuszczając nogę podobną do łabędziej szyi, gdy się wyciąga i wygina. Jedynie kiedy leżała całkiem na boku, widać było pewien profil jej twarzy (tak dobrej i ładnej *en face*); profil, którego nie mogłem znieść, haczykowaty jak na pewnych karykaturach Leonarda, wyrażających jak gdyby złość, chciwość, chytrych szpiega, którego obecność w domu przejęłaby mnie zgrozą, a który demaskował się niejako w tym profilu. Natychmiast ujmowałem twarz Albertyny w dłonie i ustalałem ją *en face*.

— Bądź dobry, przyrzeknij mi, że jeśli nie pojedziesz jutro, będziesz pracował — mówiła, zdejmując koszulę.

— Tak, ale nie kładź jeszcze peniuaru.

Czasami zasypiałem w końcu koło niej. Pokój wyziął, trzeba było drzewa. Próbowalem znaleźć dzwonek za plecami, nie mogłem znaleźć, obmacywałem wszystkie pręty mosiężne, między którymi nie było dzwonka, i mówiłem do Albertyny, która wyskakiwała, nie chcąc, żeby Franciszka widziała nas razem w łóżku:

— Nie, wróć jeszcze trochę, nie mogę znaleźć dzwonka.

Słodkie, wesołe, niewinne na pozór chwile, w których gromadzi się jednak niepodejrzewana w nas możliwość nieszczęścia, co sprawia, iż życie miłosne najwięcej mieści kontrastów; nieprzewidywany deszcz siarki i smoły spada w nim po najpogodniejszych momentach, po czym, niezdolni wyciągnąć nauki z nieszczęścia, wnet odbudowujemy się na stokach krateru, z którego może wyjść jedynie katastrofa. Miałem bez troskę ludzi, co wierzą w trwałość swojego szczęścia. Ta słodycz potrzebna jest, aby zrodzić cierpienie; i wróci zresztą, aby koić je od czasu do czasu. I dlatego człowiek może być szczerzy z drugimi, nawet z samym sobą, kiedy się szczerzy miłością danej kobiety, mimo że, razem wzięwszy, w ich stosunku stale krąży bolesny niepokój — krąży tajemnie, niewyznany nikomu lub zdradzony mimo woli pytaniami, śledztwem, bolesnym niepokojem. Że jednak niepokój ten nie mógłby się zrodzić bez uprzedniej słodyczy, że nawet potem chwilowa słodycz potrzebna jest, aby pozwolić znieść mękę i zapobiec zerwaniu, skrywanie tajemnego piekła, jakim jest pożycie z tą kobietą, komedia posuwająca się aż do popisu rzekomą harmonią, zawierają coś prawdy, pewien związek między przyczyną a skutkiem, jeden z warunków umożliwiających produkcję cierpienia.

Nie dziwiłem się już, że Albertyna jest tutaj i że ma jutro wyjść jedynie ze mną lub pod opieką Anny. Te nawyki wspólnego życia, te wielkie linie ograniczające moją egzystencję, nieprzebyte dla nikogo poza Albertyną, a także (w przyszłym, nieznanym mi jeszcze planie mego późniejszego życia, niby wykreślony przez architekta plan budowli, które powstaną dopiero znacznie później) dalekie, równoległe do nich i obszerniejsze linie szkicujące we mnie, niby samotną pustynię, sztywną i monotonną nieco formułę moich przyszłych miłości — to wszystko wykreśliła w istocie owa noc w Balbec, kiedy w kolejce, skoro mi Albertyna wyznała, kto ją wychował, zapragnąłem ją za wszelką cenę uchronić od pewnych wpływów i nie puszczać jej od siebie przez kilka dni. Dni następowały po dniach, przyzwyczajenia te stały się machinalne; ale na podobieństwo owych obrzędów, których sens próbuje odczytać historia, komuś, kto by mnie spytał, co znaczy to odludne życie, w którym zamykałem się do tego stopnia, żem przestał chodzić nawet do teatru, mógłbym (a nie chciałbym) powiedzieć, że zrodziło się ono z trwogi jednego wieczoru i z potrzeby dowiedzenia samemu sobie (w dniach, które nastąpiły po owym wieczorze), że ta, której

<sup>1024</sup>*hacel* — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia; tu ogólnie: hak. [przypis edytorski]

opłakane dzieciństwo poznałem, nie miałyby możliwości narażenia się na dawne pokusy — w razie gdyby chciała to uczynić. Dość rzadko już myślałem o tych możliwościach; mimo to musiały one wciąż żyć mglisto w mojej świadomości. Fakt niszczenia ich dzień po dniu lub próby w tej mierze stały się z pewnością przyczyną, czemu lubił całować te policzki, nie piękniejsze od wielu innych; pod wszelką głębszą nieco fizyczną rozkoszą istnieje ciągle niebezpieczeństwo.

\*

Przyrzekłem Albertynie, że o ile z nią się nie wybiorę, wezmę się do pracy. Ale naza-jutrz, jak gdyby korzystając z naszego snu, dom w cudowny sposób odbył podróż, budzi-łem się w odmienną pogodę w innym klimacie. Nie sposób pracować, w chwili gdy się ląduje w nowym kraju, do którego warunków trzeba się dostosować. Otóż każdy dzień był dla mnie odmiennym krajem. Jakimż cudem poznałbym nawet swoje lenistwo w jego wciąż nowych formach?

Czasami w dni beznadziejnie słotne (jak twierdzono) już samo siedzenie w domu, zanurzonym w równym i ciągłym deszczu, posiadało gładką słodycz, kojącą ciszę, urok morskiej podróży; innym razem, w pogodny dzień, leżąc nieruchomo w łóżku, pozwala-łem się kręcić ceniom dokoła siebie niby dokoła pnia drzewa.

Kiedy indziej znów, przy pierwszych dzwonach bliskiego klasztoru, nielicznych jak poranne dewotki, poznawałem jeden z owych burzliwych, nerwowych i słodkich dni, ledwie bielących ciemne niebo mokrym szronem, roztopianym i rozpraszanym przez ciepły wiatr, kiedy dachy zwilżone ulewą, którą suszy podmuch wiatru lub promień słońca, z gruchaniem pozwalają ściekać kroplom deszczu i czekając, aż wiatr znów się zerwie, gładzą swoje dachówki mieniące się w błysku słońca jak gardziolko gołębia; jeden z dni wypełnionych tyloma odmianami pogody, powietrznych zdarzeń, burz, dni niestraconych dla leniucha ożywionego energią, jaką za niego, poniekąd w jego zastępstwie, rozwinęła atmosfera; dni podobne dniom rozruchów lub wojny, które nie wydają się puste ucznia-kowi wymykającemu się z klasy, ponieważ wałęsając się koło Pałacu Sprawiedliwości<sup>1025</sup> lub czytając dzienniki, ma złudzenie, że w wydarzeniach, które się działy, w miejsce zadań, których nie odrobił, znalazł korzyść dla swojej inteligencji i wymówkę dla próżniactwa; dni dające się porównać z tymi, w których się spełnia w naszym życiu jakiś wyjątkowy przełom, dając komuś, kto nigdy nic nie robił, złudzenie, że jeżeli się skończy szczęśli-wie, zaszczerpi w nim skłonność do pracy. Na przykład rano, kiedy człowiek wychodzi z domu na pojedynek o szczególnie niebezpiecznych warunkach; wówczas, w chwili gdy może stracić życie, objawia mu się nagle cena życia, z którego mógł być skorzystać, aby podjąć jakieś dzieło lub bodaj kosztować przyjemności, a z którego nie umiał wydobyć nic. „Gdybym nie zginął — powiada sobie — jakżebym się zaraz zabrał do pracy! I jak-by się bawił!”. Życie nabrało nagle w jego oczach większej wartości, ponieważ wkłada w nie wszystko, co mu się zdaje, że ono może dać, a nie to niewiele, które ma z niego za-zwyczaj. Widzi je wedle swoich pragnień, nie zaś takim, jakim — wie to z doświadczenia — umie je uczynić, to znaczy tak miernym! Życie to wypełniło się w jednej chwili pra-cami, podróżami, wycieczkami w góry, wszystkimi pięknymi rzeczami, które (powiada sobie) nieszczęśliwy wynik pojedynku może unicestwić; podczas gdy, zanim jeszcze była mowa o pojedynku, wszystko unicestwiały jego złe nawyki, które nawet bez pojedynku trwałyby nadal. Wraca do domu, nawet nie ranny, ale odnajduje te same przeszkody dla przyjemności, dla wycieczek, podróży, dla wszystkiego tego, z czego wiekuistym wuzu-ciem groziła mu przez chwilę śmierć: wystarcza na to życie. Co się tyczy pracy, daje sobie urlop, ile że wyjątkowe okoliczności podsycają w człowieku to, co w nim już istniało: w pracowitym pracę, a w próżniaku lenistwo.

Robiłem tak jak ów człowiek i tak, jak zawsze robiłem od czasu dawnych postano-wień, żeby się wziąć do pisania. Postanowienie to powziąłem niegdyś, ale zdawało mi się nie dawniejsze niż wczoraj, bo każdy z kolei dzień stawał się dla mnie niebyły. Tak samo poczytałem sobie i z tym dniem, pozwalając beczynnemu mijać jego ulewom i przebły-skom pogody, obiecując sobie pracować jutro. Ale stawałem się inny pod niebem bez

<sup>1025</sup> *Pałac Sprawiedliwości* — zespół budynków na paryskiej wyspie Île de la Cité, stanowiący siedzibę najważ-niejszych organów wymiaru sprawiedliwości we Francji. [przypis edytorski]

chmurki; złożony dźwięk dzwonów zawierał nie tylko — jak miód — światło, ale wrazenie światła, a także mdły smak konfitur (ponieważ w Combray wałęsał się często jak osa po sprzątniętym stole). W taki słoneczny dzień lenić się z zamkniętymi oczami to była rzecz dozwolona, praktykowana, zbawienna, miła, właściwa tak jak zamknąć żaluzje od upału.

W taki to czas w początkach drugiego pobytu w Balbec usłyszałem smyczki orkiestry pośród sinych fal przypywu. O ileż więcej posiadałem Albertynę dziś! Były dni, kiedy dzwon bijący godzinę miał na kręgu swojej dźwięczności tarczę tak świeżą, tak mocno nasyconą wilgocią lub światłem, że stawała się jak gdyby transpozycją dla ślepych, lub jeśli kto woli, muzycznym przekładem uroków deszczu lub czaru słońca. Tak iż w tej chwili, leżąc z zamkniętymi oczami w łóżku, powiadałem sobie, że wszystko da się przetransponować i że wszechświat jedynie słyszalny mógłby być równie urozmaicony. Płynąc leniwo z powrotem od dnia do dnia, niby na łodzi, i widząc jawiące się przede mną wciąż nowe zaczarowane wspomnienia, niewybrane przeze mnie, niewidzialne na chwilę przedtem i ukazywane mi przez pamięć kolejno, bez możliwości wyboru, ciągnąłem leniwo po tych równych przestrzeniach przechadzkę w słońcu.

Te ранne koncerty w Balbec nie były zbyt dawne. A jednak w owej bliskiej stosunkowo chwili niewiele dbałem o Albertynę. W pierwszych dniach po przybyciu nie wiedziałem nawet o jej obecności w Balbec. Kto to mi o tym powiedział? A, prawda, Aimé. Było piękne słońce, jak dziś. Był rad, że mnie widzi. Ale nie lubił Albertyny. Wszyscy nie mogą jej lubić. Tak, to Aimé oznajmił mi, że ona jest w Balbec. Skąd on to wiedział? A, spotkał ją, wydała mu się w wątpliwym guście. W tej chwili, ujmując opowiadanie Aimégo z innej strony, niż to było w jego intencjach, myśl moja, dotąd żeglująca z uśmiechem po tych błogosławionych wodach, pękła nagle, jak gdyby się natknęła na niewidzialną, a niebezpieczną minę, zdradliwie założoną w tym punkcie mojej pamięci. Aimé oznajmił mi, że ją spotkał, że mu się wydała w wątpliwym guście. Co on chciał powiedzieć przez ten „wątpliwy gust”? Zrozumiałem „gust pospolity”, gdyż aby temu zaprzeczyć, oświadczyłem z punktu, że Albertyna jest dystygnowana. Ale może on chciał powiedzieć „w guście gomorejskim”? Była z przyjaciółką; może się obejmowały, może się przyglądały innym kobietom, może miały w istocie wzięcie<sup>1026</sup>, którego nigdy nie miała wprzód Albertyna w mojej obecności. Kto to była ta przyjaciółka, gdzie spotkał Aimé tę wstrętną Albertynę?

Starałem się przypomnieć sobie ściśle to, co mi Aimé powiedział, sprawdzić, czy się to może odnosić do tego, com sobie wyobrażał, lub czy on miał na myśli jedynie pospolitość manier. Ale daremnie zastanawiałem się nad tym: osoba zadająca sobie pytanie i osoba zdolna dostarczyć wspomnień były niestety tylko jedną i tą samą osobą, mną; rozdawałem się chwilowo, ale niczym nie pomnażając siebie. Pytałem, ale odpowiadałem sam, nie dowiedziałem się niczego więcej. Nie myślałem już o pannie Vinteuil. Zrodzony z nowego podejrzenia, mój atak zazdrości był również nowy lub raczej był tylko przedłużeniem, rozszerzeniem tego podejrzenia; sceną jego nie było już Montjouvain, ale droga, gdzie Aimé spotkał Albertynę, a przedmiotem kilka przyjaciółek, z których jedna mogła towarzyszyć owego dnia Albertynie. Może niejaka Elżbieta, a może raczej owe dwie młode dziewczyny, którym Albertyna przyglądała się w lustrze w kasynie, nie zdradzając się z tym, że je widzi. Utrzymywała może stosunki z nimi, a także z Esterą, kuzynką Blocha. Gdyby mi takie stosunki zdradził ktoś trzeci, wystarczyłyby niemal, aby mnie zabić; ale ponieważ to ja sam wyobrażałem je sobie, bezwiednie przydałem im tyle niepewności, ile było trzeba dla stępienia bólu.

Pod postacią podejrzeń dochodzi człowiek do codziennego wchłaniania olbrzymich dawek myśli, że jest zdradzany; słaba jej dawka mogłaby być śmiertelna, gdyby ją w nas wprowadził zastrzyk morderczego słowa. Oto przejaw instynktu samozachowawczego: zazdrośnik nie waha się powziąć okrutnych podejrzeń z powodu niewinnych faktów, ale w obliczu pierwszego dowodu, jakiego mu ktoś dostarczy, nie podda się oczywistości. Zresztą miłość jest chorobą nieuleczalną, jak owe skazy, w których reumatyzm folguje jedynie po to, aby ustąpić miejsca migrenom epileptoidalnym<sup>1027</sup>. Kiedy moje zazdrośne podejrzenia się uspokoiły, miałem żal do Albertyny, że nie była serdeczna, że może sobie

<sup>1026</sup>wzięcie (daw.) — sposób zachowania. [przypis edytorski]

<sup>1027</sup>epileptoidalny — typowy dla epileptoidii, zaburzenia cechującego się zmianami temperamentu i charakteru spotykanymi u części chorych na padaczkę (epilepsję). [przypis edytorski]

drwiła ze mnie z Anną. Myślałem ze zgrozą o tym, co ona musi myśleć o mnie, jeśli jej Anna powtórzyła wszystkie nasze rozmowy; przyszłość przedstawiała mi się strasznie. Smutki te opuszczały mnie jedynie wówczas, gdy nowe podejrzenie wtrąciło mnie w inne domysły lub gdy, przeciwnie, czułość Albertyny odebrała wartość memu szczęściu. Co to mogła być za młoda dziewczyna? Muszę napisać do Aimégo, postarać się z nim zobaczyć; a potem sprawdzilibym jego zeznania w rozmowie z Albertyną, wyciągając ją na słówka. Na razie, przekonany, że to musiała być kuzynka Blocha, poprosiłem Blocha (nierozumiejącego zgoła w jakim celu), żeby mi bodaj pokazał jej fotografię lub mnie ewentualnie z nią zetknął.

Ileż osób, miast, dróg pragniemy w ten sposób poznać pod wpływem zazdrości? Zazdrość jest żądzą wiedzy, dzięki której zdobywamy w końcu wszystkie możliwe wiadomości co do poszczególnych punktów, z wyjątkiem tych, których byśmy pragnęli. Nie wiadomo nigdy, czy się nie zrodzi podejrzenie, bo nagle przypominamy sobie jakieś niejasne zdanie, alibi stworzone może nie bez intencji. Prawda, od tego czasu nie widzieliśmy danej osoby, ale istnieje zazdrość wsteczna, zbudzona dopiero po rozstaniu się, „*jalousie de l'escalier*”. Przyzwyczailem się kryć w sobie niektóre pożądanía, pożądanía młodej panny z towarzystwa (w rodzaju tych, które widziałem z okna przechodzące z guwernantką), a osobliwie tej z domu schadzek, o której wspominał Saint-Loup; pragnienie pięknych pokojówek, w szczególności pokojówki pani Putbus; pragnienie wsi z początkiem wiosny, żądze oglądania głogów, kwitnących jabłoni, burz; pragnienie Wenecji, pragnienie wzięcia się do pracy, pragnienie życia takiego jak wszyscy; może ten nawyk przechowywania w sobie wszystkich tych niezaspokojonych pragnień — przy czym poprzestawałem na obietnicy czynionej samemu sobie, że nie zapomnę zaspokoić ich kiedyś — może ów tyloletni nawyk tego, co pan de Charlus piętnował mianem prokrastynacji — „dojutrowania” — stał się we mnie tak uniwersalny, że rozciągał się i ma moją zazdrość? Notując w myśli, że nie omieszkać kiedyś rozmówić się z Albertyną w sprawie młodej dziewczyny — może młodych dziewczyn (ta część opowiadania była w mojej pamięci mętna, zamazana, można rzec, nie do przebycia) — z którą (lub z którymi) Aimé ją spotkał, odwlekałem te wyjaśnienia. W każdym razie nie mówiłbym o tym z Albertyną tego wieczora, aby się nie narażać na to, że się zdradzę ze swoją zazdrością i że ją pogniewam.

Jednakże kiedy nazajutrz Bloch przysłał mi fotografię swojej kuzynki Estery, czym prędzej przesłałem ją Aimému. I równocześnie przypomniałem sobie, że Albertyna odmówiła mi rano przyjemności, która mogłaby ją w istocie zmęczyć. Czyżby dlatego, żeby zachować tę przyjemność dla kogo innego? Po południu może? Dla kogo?

W ten sposób zazdrość jest nieskończona. Nawet jeśli ukochana istota (kiedy umrze, na przykład) nie może już jej wywoływać uczynkami, wspomnienia późniejsze od wszelkich wydarzeń mogą się nagle stać w naszej pamięci również wydarzeniami; wspomnienia, których nie oświetliliśmy dotąd, które się nam zdawały nieznaczące, a którym wystarczy nasze zastanowienie się nad nimi, bez żadnego faktu z zewnątrz, aby nabrały nowego i straszliwego znaczenia. Nie potrzeba być we dwoje, wystarczy być samemu w pokoju i myśleć, aby zaszły nowe fakty zdrad kochanki, choćby ona sama umarła. Toteż w miłości, nie tak jak w zwyczajnym życiu, trzeba się bać nie tylko przyszłości, ale nawet przeszłości, która często realizuje się dla nas aż po przyszłości; a nie mówię tu jedynie o przeszłości, której się dowiadujemy po czasie, ale o tej, którą przechowujemy w sobie od dawna i w której nagle nauczymy się czytać.

Ale i tak pod wieczór czułem się bardzo szczęśliwy, że się zbliża godzina, kiedy będę mógł od obecności Albertyny zażądać potrzebnego mi ukojenia. Na nieszczęście wieczór, który nadszedł, był jednym z tych, kiedy to ukojenie nie było mi dane; kiedy pocałunek Albertyny na rozstanie, bardzo odmienny od jej zwykłego pocałunku, nie uspokoiłby mnie, tak samo jak pocałunek matki w dni, kiedy się gniewała i kiedy nie śmiałem jej wolać, czując jednak, że nie zdołałem zasnąć. To były teraz te wieczory, kiedy Albertyna ułożyła na jutro jakiś projekt w sekrecie przede mną. Gdyby mi była zwierzyła ów projekt, pomógłbym jej w jego ziszczeniu z zapalem, jakim nikt prócz Albertyny nie zdołałby mnie natchnąć. Ale nie mówiła nic i nie potrzebowała zresztą nic mówić; z chwilą gdy weszła, jeszcze w drzwiach mego pokoju, kiedym ją ujrzał w kapeluszu lub toczku na głowie, widziałam już nieznane, uparte, zaciekle, niezwalczone pragnienie. I były to często

wieczory, kiedy oczekiwałem jej powrotu z najtkliwszymi myślami, kiedy chciałem się jej rzucić na szyję z największą czułością.

Niestety, nieporozumienia, jakie często miewałem z rodzicami, gdy trafiałem na ich chłód lub gniew, w chwili gdy podbiegałem do nich, dławiąc się czułością, niczym są w porównaniu z rozdźwiękiem między kochankami! Cierpienie jest tu o wiele mniej powierzchowne, o wiele trudniejsze do zniesienia, tkwi w o wiele głębszej warstwie serca.

Tego wieczora Albertyna musiała mi jednak wspomnieć o swoim projekcie. Zrozumiałem natychmiast, że się wybiera jutro do pani Verdurin. W zasadzie nie miałbym nic przeciw tej wizycie. Ale z pewnością chciała tam iść po to, aby kogoś spotkać, aby ukartować jakąś przyjemność. Inaczej nie zależałyby jej tak na tej wizycie, czyli nie byłaby powtarzała, że jej na tym nie zależy. Posuwałem się w swojej egzystencji drogą odwrotną do drogi ludów dochodzących do pisma fonetycznego dopiero po przebyciu fazy liter jako szeregu symboli; ja, który tyle lat szukałem prawdziwego życia i myśli ludzi jedynie w tym, co mi po prostu i dobrowolnie mówili, z ich winy doszedłem do tego, że przywiązywałem już wagę jedynie do świadectw niebędących racjonalnym i analitycznym wyrazem prawdy; słowa nawet miały dla mnie znaczenie jedynie o tyle, o ile je sobie tłumaczyć tak jak na przykład rumieniec zmieszanej osoby lub nagłe milczenie.

Jakiś przysłówek użyty na przykład przez pana de Cambremer, kiedy sądził, że jestem „pisarzem” i kiedy nie rzekłszy jeszcze nic, opowiadając o swojej wizycie u Verdurinów, obrócił się do mnie, mówiąc: „Był tam właśnie de Borelli”, przysłówek wynikły z mimowolnego, czasem ryzykownego zbliżenia dwóch myśli, niewyrażonych przez interlokutora, z którego to zbliżenia mogłem dzięki jakiejś metodzie analizy lub elektrolizy, wydobyć te myśli — taki przysłówek powiadał mi więcej niż cała rozprawa.

Albertynie zdarzało się czasem w jej odezvaniach się uronić jakiś szacowny amalgamat<sup>1028</sup>, który czym prędzej starałem się poddać działaniu odczynników, aby go przeobrazić w jasną myśl. To jest zresztą jedna z najokropniejszych rzeczy dla zakochanego, że o ile poszczególne fakty są trudne do odkrycia (dałoby się je odkryć wśród tylu możliwości jedynie doświadczeniem, szpiegowaniem), w zamian za to prawdę jest tak łatwo przeniknąć lub bodaj przeczuć.

Często widziałem w Balbec Albertynę, jak wpija w przechodzące młode dziewczyny nagle i długie spojrzenie mające coś z dotyku, po czym, o ile znałem te dziewczęta, mówiła: „Gdyby je ściągnąć? Z przyjemnością nagadałabym im impertynencji”. A od jakiegoś czasu (z pewnością od czasu, gdy mnie przeniknęła) — nic; żadnej propozycji zaproszenia kogoś, żadnego słowa, nawet żadnego umykania spojrzeń, które się stały bezprzedmiotowe, milczące i w swoim roztargnieniu i obojętności równie rewelacyjne, jak niegdyś była ich magnetyczność. Otóż niepodobna mi było robić Albertynie wymówek lub zadawać jej pytań z powodu jakichś drobiazgów tak błahych, tak nieznaczących, zauważonych przeze mnie chyba dla przyjemności „rozszczepiania włosa na czworo”. Dość już trudno jest powiedzieć: „Czemuś spojrzała na tę kobietę?”, ale o wiele trudniej: „czemu na nią nie spojrzałaś?”. A jednak wiedziałem lub bodaj byłbym wiedział czemu, gdybym nie wołał wierzyć raczej twierdzeniom Albertyny niż wszystkim owym „nic” zawartym w jej spojrzeniu, dowiedzionym przez to spojrzenie i przez jakąś sprzeczność jej słów, sprzeczność, którą często spostrzegałem doiero po dłuższym czasie po rozstaniu się z nią, sprzeczność, która mnie dręczyła całą noc, o której nie śmiałem już mówić, ale która niemniej zaszczycała moją pamięć periodycznymi wizytami.

Często z powodu tych przelotnych lub ukradkowych spojrzeń na plaży w Balbec lub na ulicy w Paryżu mogłem rozważać, czy osoba, która je wywołuje, jest tylko doraźnym celem pożądania? Może to dawna znajoma lub ktoś, kogo Albertyna zna tylko ze słyszenia. I kiedym się o tym dowiedział, zdumiony byłem, że słyszała o niej, tak bardzo osoba ta znajdowała się poza kręgiem „możliwych” znajomości Albertyny. Ale nowoczesna Gomora to są puzzle złożone z kawałków najniespodzianszego pochodzenia. I tak widziałem raz w Rivebelle wielki obiad, którego co najmniej dziesięć uczestniczek znałem przypadkowo z nazwiska; uczestniczek możliwie najróżnorodniejszych, ale wybornie zharmonizowanych, tak że nie widziałem obiadu równie jednolitego, mimo iż tak mieszane.

<sup>1028</sup> *amalgamat* — stop metalu z rtęcią; przelen. mieszanina. [przypis edytorski]

Aby wrócić do owych spacerujących, faktem jest, że nigdy Albertyna nie patrzyła na żadną wiekową damę ani na starca wzrokiem tak martwym, tak obojętnym, jak na te młode osoby: wręcz jakby nie widziała. Oszukani mężowie, którzy nie wiedzą nic, i tak wiedzą wszystko. Ale aby wszcząć scenę zazdrości, trzeba konkretniejszych dowodów. Zresztą, jeżeli zazdrość pomaga nam odkryć u kochanki niejaką skłonność do kłamstwa, zazdrość nasza zestokrotnia tę skłonność, o ile kobieta odkryła, że jesteśmy zazdrośni. Kłamie (w stopniu, w jakim nigdy nie kłamała przedtem) z litości lub ze strachu lub wymyka się instynktownie za pomocą symetrycznej ucieczki naszemu śledztwu. Z pewnością istnieją stosunki, w których kobieta lekka narzuciła od początku oczom zakochanego mężczyzny wiarę w swoją cnotę. Ale jakże często stosunek miłosny zawiera dwa okresy stanowiące doskonały kontrast. W pierwszym kobieta mówi prawie swobodnie, jedynie z pewnymi złagodzeniami, o swoich zmysłach, o życiu, do jakiego ją popchnęły, aby później przeczycь wszystkiemu temu z całą energią wobec tego samego człowieka, z chwilą gdy uczuła, że jest o nią zazdrosny i że ją śledzi. Mężczyzna żałuje wręcz niekiedy czasów owych pierwszych zwierzeń, mimo że ich wspomnienie go dręczy. Gdyby kobieta jeszcze mu się tak zwierzała, sama niemal zdradziłaby przed nim tajemnicę błędów, za którą on się upędza co dnia nadaremnie. I jakiejż szczerości byłoby to dowodem, jakiej ufności, przyjaźni! Jeżeli nie może go nie zdradzać, zdradzałaby go bodaj po przyjacielsku, zwierając mu swoje rozkosze, dzieląc się nimi. I mężczyzna żałuje takiego życia, które początek ich miłości zdawał się szkicować, które dalszy ciąg uniemożliwił, czyniąc z tej miłości coś okrutnie bolesnego, coś co uczyni zerwanie — rozmaicie — albo nieuniknionym, albo niemożliwym.

Czasami pismo, w którym odcyfrowywałem kłamstwa Albertyny, nie będąc niczym ideograficznym, wymagało jedynie tego, aby je czytać na wspak. W ten sposób owego wieczora rzuciła mi niedbale słowa przeznaczone na to, aby przeszły prawie niepostrzeżone: „Możliwe jest, że jutro zajdę do Verdurinów; ale wcale nie jestem pewna, nie mam zbytnej ochoty”. Był to naiwny anagram tego wyznania: „Pójdę jutro do Verdurinów, pójdę niezawodnie, bo mi bardzo na tym zależy”. Ten pozór wahania oznaczał zdecydowaną wolę i miał na celu zmniejszyć wagę wizyty przy równoczesnym oznajmieniu mi o niej. Albertyna używała zawsze tonu powątpiewania dla nieodwołalnych postanowień. Moja decyzja była nie mniej stanowcza: postarałem się, aby wizyta u Verdurinów nie doszła do skutku. Zazdrość bywa często jedynie niespokojną potrzebą tyranii zastosowaną do spraw miłości. Odziedziczyłem zapewne po ojcu tę nagłą tyrańską ochotę dosięgania najdroższych mi istot w nadziejach, których kruchości chciałem im dowieść; kiedym widział, że Albertyna skombinowała bez mojej wiedzy, w sekrecie, rozrywkę, którą byłbym jej ułatwił i umilił z całego serca, gdyby mi się z nią zwierzyła, oświadczyłem niedbale, dla pogębienia jej, że zamierzam gdzieś się z nią wybrać tego właśnie dnia.

Zacząłem podsuwać Albertynie jakieś spaceru, które by uniemożliwiły wizytę u Verdurinów; czyniłem to z udaną obojętnością, pod którą starałem się ukryć moje zdenerwowanie. Ale ona wyczuła je. Spotykało się u Albertyny z elektryczną siłą przeciwnej woli, która odpychała je żywo; widziałem iskry tryskające z jej oczu. Zresztą po co mówić o tym, co wyrażały w tej chwili jej źrenice? Jak mogłem nie zauważyć od dawna, że oczy Albertyny są z rodziny tych, które nawet u przeciętnej istoty zdają się sporządzone z wielu kawałków, z powodu wszystkich miejsc, w których ta istota chce się znaleźć danego dnia i ukryć, że się chce tam znaleźć. Oczy, na skutek kłamstwa wciąż nieruchome i bierne, ale dynamiczne, wymierne ilością metrów lub kilometrów koniecznych do przebycia, aby się znaleźć na pożądanej, nieubłagane pożądanej schadzce; oczy mniej jeszcze uśmiechające się do wabiącej je rozkoszy, ile przelśnione smutkiem i zniechęceniem, że wyłoni się może jakaś przeszkoda. Nawet będąc w naszych rękach, istoty te są nieujęte. Aby zrozumieć wzruszenia, które nam dają, a których nie dają inne, nawet piękniejsze, trzeba brać w rachubę, że one nie są nieruchome, ale w ruchu, i trzeba dodać do ich osoby znak oznaczający w fizyce szybkość. Jeżeli zamącisz ich program, wyznają ci rozrywkę, którą przed tobą tały. „Tak chciałam być na podwieczorku u kogoś, kogo bardzo lubię”. Otóż jeżeli po pół roku zdołasz poznać ową osobę, dowiesz się, że nigdy twoja przyjaciółka, której projekty niegdyś zmąciłeś, która zaskoczona, chcąc uzyskać swobodę ruchu, przyznała ci się, że co dzień w porze, w którejś jej nie widywał, wyprawiają sobie z tą ulubioną osobą podwieczorek we dwójkę, dowiesz się, że w istocie nigdy u niej nie

była i że mówiła jej, iż jest bardzo zaakaparowana<sup>1029</sup> — przez ciebie. Tak więc, osoba, u której niby to, jak się przyznała sama, bywała na podwieczorku — i błagała cię, żebyś jej pozwolił iść do niej — ta osoba, ten powód wyznany z musu, to była nie ta, to była inna, to było jeszcze coś innego! Coś innego, ale co? Inna, ale kto?

Niestety, te cząstkowe oczy, biegnące w dal i smutne, pozwoliłyby może zmierzyć odległość, ale nie wskazują kierunku. Rozpościera się nieskończone pole możliwości, a gdyby przypadkowo zjawiała się przed nami istotna rzeczywistość, byłaby czymś tak poza wszelkimi możliwościami, że padlibyśmy na wznak, oszołomieni, uderzając głową o wyrastającą ścianę. Nie jest nawet konieczne stwierdzenie ruchu i ucieczki, wystarczy, że je wywnioskujemy. Przyrzekła nam list, byliśmy spokojni, nie kochaliśmy już. List nie przyszedł, nie przychodzi, co się dzieje? — odradza się niepokój i miłość. Takie istoty zwłaszcza budzą w nas miłość na nasze nieszczęście. Bo każdy nowy niepokój, jaki odczuwamy przez nie, ujmuje w naszych oczach coś z ich osobowości. Byliśmy zrezygnowani na cierpienie, sądząc, że kochamy kogoś z zewnątrz nas; i oto spostrzegamy, że miłość nasza jest funkcją naszego smutku, że jest może po prostu naszym smutkiem i że przedmiotem jej jest jedynie w skromnej mierze czarnowłosa dziewczyna. Ale cóż, zwłaszcza takie istoty budzą miłość.

Najczęściej przedmiotem miłości nie jest ciało, chyba że się w nim stopi wzruszenie, obawa stracenia go, niepewność posiadania. Otóż ten rodzaj niepokoju czepia się zwłaszcza ciała. Przydaje mu coś, co jest więcej niż piękność; oto jedna z przyczyn, dla której mężczyźni obojętni na najpiękniejsze kobiety mogą namiętnie kochać inne, dla nas brzydkie. Tym właśnie istotom wymykającym się natura ich, nasz niepokój, przyprowadzają skrzydła. I nawet gdy są przy nas, spojrzenie ich zdaje się mówić, że ulecą. Dowodem tej nadpiękności, której używają skrzydła, jest fakt, że często ta sama istota jest dla nas na przemian bez skrzydeł i skrzydlata. Kiedy boimy się ją stracić, zapominamy o wszystkich innych. Kiedy jesteśmy pewni jej posiadania, porównujemy ją z owymi innymi, dając im natychmiast pierwszeństwo. Że zaś te wzruszenia i ten spokój mogą się zmieniać z tygodnia na tydzień, możemy dla tej istoty poświęcić w danym tygodniu wszystko, co nam było miłe, a w następnym tygodniu poświęcić ją samą, i tak dalej, przez bardzo długi czas. To byłoby niepojęte, gdybyśmy nie wiedzieli z doświadczenia (jak każdy mężczyzna, który w życiu bodaj raz przestał kochać, zapomniał), jak mało czym jest taka istota sama w sobie, kiedy nie jest już lub nie jest jeszcze przepuszczalna dla naszych wzruszeń. I oczywiście, jeżeli mówimy: „istoty wymykające się”, odnosi się to tak samo do istot w więzieniu, do kobiet niewolnych, o których posiadaniu zwątpimy. Toteż mężczyźni nienawidzą rajfurek<sup>1030</sup>, bo one ułatwiają ucieczkę, migocą pokusą; kochając natomiast kobietę zamkniętą, uciekają się chętnie do rajfurek, aby taką kobietę wyrwały z więzienia i przywiodły ku nam. I jeżeli związki z kobietami wykradzionymi są mniej trwałe od innych, to dlatego że niepewność zdobycia ich lub obawa ich ucieczki stanowi całą naszą miłość i że skoro je raz zabierzemy mężowi, wyrwiemy je z ich teatru, skoro je wyleczymy z pokusy rzucenia nas, słowem, skoro je wyodrębnimy od jakiegokolwiek naszego wzruszenia, pozostają tylko sobą, to znaczy prawie niczym. I szybko rzuci je ten, który ich tak długo pragnął, który się tak bardzo bał, że one go rzucą.

Powiedziałem: „Jak mogłem nie zgadnąć?”. Ale czyż ja nie zgadłem tego w Balbec od pierwszego dnia? Czyż nie odgadłem w Albertynie jednej z owych dziewczyn, pod których cielesną powłoką pulsuje więcej ukrytych istot — może nie więcej niż w nierozpieczętowanej jeszcze talii kart, niż w jakiejś katedrze lub w teatrze, zanim się do nich wejdzie, ale więcej niż w olbrzymim i wciąż nowym tłumie. Nie tylko tyle istot, ale pragnienie, rozkoszna pamięć, niespokojne szukanie tyłu istot. W Balbec nie byłem wzruszony, bom nie przypuszczałem nawet, iż pewnego dnia znajdę się na tropie, choćby fałszywym. Ale i tak dało to Albertynie wobec mnie pełnię istoty wypełnionej do dna warstwami tyłu istot, pragnień, tyłu wspomnień rozkoszy. I teraz kiedy pewnego dnia powiedziała mi: „Panna Vinteuil”, byłbym chciał nie zerwać suknię, aby ujrzeć jej ciało, ale poprzez ciało ujrzeć cały ów notatnik jej wspomnień i jej bliskich i namiętnych schadzek.

<sup>1029</sup>zaakaparować (daw., z fr.) — przywłaszczyć sobie; zając kogoś wyłącznie swoją osobą. [przypis edytorski]

<sup>1030</sup>rajfurka (daw.) — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

Jak dalece rzeczy zapewne najblihsze nabierają nagle nadzwyczajnej wartości, kiedy istota, którą kochamy (lub której brakowało jedynie tej dwulicowości, abyśmy ją pokochali), ukrywa je nam! Samo w sobie cierpienie niekoniecznie rodzi w nas uczucia miłości lub nienawiści dla osoby, która je powoduje; chirurg zadający ból pozostaje nam obojętny. Ale kiedy kobieta mówiła nam jakiś czas, że jesteśmy dla niej wszystkim, przy czym ona sama nie była wszystkim dla nas; kobieta, którą lubimy widzieć, całować, trzymać na kolanach, wówczas dziwimy się, czując po nagłym oporze, że nie rozporządzamy nią do woli. Zawód budzi w nas wówczas czasami zapomniane uczucie dawnego niepokoju, o którym jednak wiemy, że go zbudziła nie ta kobieta, lecz inne, których zdrady piętrzą się w naszej przeszłości; zresztą jak mieć odwagę, aby żyć, jak zrobić ruch, aby się uchronić od śmierci w świecie, gdzie miłość rodzi się tylko z kłamstwa, a polega tylko na potrzebie ukojenia naszych cierpień przez istotę, która nam je zadała? Na to, aby wyjść z przygnębienia, jakie w nas budzi odkrycie tego kłamstwa i tego oporu, smutnym lekarstwem jest starać się oddziaływać na tę, co się nam opiera i która nam kłamie; oddziaływać na nią mimo jej woli, za pomocą istot więcej, czujemy to, zajmujących miejsca w jej życiu niż my sami; kłamać, kręcić, zozydzić się w jej oczach. Ale męka takiej miłości jest z tych, które sprawiają nieodparcie, że chory w zmianie pozycji szuka złudnej poprawy.

Na tych sposobach działania nie zbywa nam, niestety! I okropność takiej miłości, zrodzonej jedynie z niepokoju, płynie stąd, że bez przerwy rozważamy i obracamy w klatce nieznaczące słowa; co więcej, istoty budzące w nas tę miłość bardzo rzadko podobają się nam fizycznie w złożony sposób: wyboru dokonuje nie nasz świadomy smak, ale przypadkowa minuta niepokoju, minuta nieograniczenie przedłużona słabością naszego charakteru, powtarzającą co wieczór próby i zniżającą się do środków uśmierających.

Bez wątpienia miłość moja do Albertyny nie była najuboższa wśród tych, do których z braku woli można się osunąć, bo nie była całkowicie platoniczna; Albertyna dawała mi rozkosz fizyczną, a przy tym była inteligentna. Ale wszystko to było tylko nadpłodnienie. Zaprzętała mnie nie jej inteligencja, ale jakieś słówko rzucające nagle dwuznaczny cień na jej postępkę; próbowałem sobie przypomnieć, czy ona powiedziała to czy owo, jakim tonem, w jakiej chwili, w odpowiedzi na jakie słowa; sililem się odtworzyć sobie cały dialog; kiedy ściśle objawiła chęć wizyty u Verdurinów i które z moich słów sprawiło, że się zachmurzyła. Gdyby chodziło o najważniejszy fakt, nie zadałbym sobie tyle trudu, aby ustalić jego autentyczność, odtworzyć jego atmosferę i barwę. Bez wątpienia takie niepokoje, osiągnąwszy stopień, w którym stają się czymś nie do zniesienia, dadzą się niekiedy całkowicie uśmierzyć na jeden wieczór. Zaproszono i nas na zabawę, na którą nasza ukochana wybiera się i nad której prawdziwym sensem głowiliśmy się od wielu dni; kochanka uśmiecha się tylko do nas, rozmawia tylko z nami; odprowadzamy ją do domu i wówczas, zbywszy się obaw, kosztujemy spokoju równie kompletnego i krzepiącego, jak ten, którego zażywamy czasem w głębokim śnie po długim spacerze. I bez wątpienia taki spokój wart jest, aby go opłacić drogo. Ale czy nie byłoby prostsze nie kupować sobie dobrowolnie, i to jeszcze drożej, owych lęków? Zresztą wiemy, że choćby te chwilowe odprężenia były najgłębsze, niepokój i tak weźmie górę. Czasami nawet odnawia go jakieś zdanie, którego celem było przynieść nam spokój. Ale najczęściej zmieniamy jedynie niepokój. Któreś słowo z tego zdania, które miało nas uspokoić, pcha nasze podejrzenia na inny tor. Zazdrość nasza i ślepotą większe są, niż mogła przypuszczać ta, którą kochamy.

Kiedy ona nam przysięga samorzutnie, że dany mężczyzna jest dla niej tylko przyjacielem, przyprawia nas o wstrząs, przynajmniej, czegośmy nie podejrzewali, że był dla niej przyjacielem. Kiedy nam opowiada, chcąc dowieść swojej szczeroci, jak pili razem herbatę jeszcze tego popołudnia, za każdym jej słowem obleka się nam w kształt coś niewidzialnego, nieodejrzewanego. Wyznaje, że on ją prosił, aby mu się oddała, a my cierpimy męki, że ona mogła słuchać tych propozycji. Odrzuciła je, powiada. Ale za chwilę, przypominając sobie jej opowiadanie, zastanawiamy się, czy ono jest całkiem szczerem; między rozmaitymi szczegółami brak nam owego logicznego i koniecznego węzła, który bardziej od faktów jest znamieniem prawdy. A przy tym ta jej okropna, wzgardliwa intonacja: „Powiedziałam mu, że nie, kategorycznie”, którą ma kobieta wszystkich klas — kiedy kłamie. I trzeba jej jeszcze dziękować za to, że odmówiła; dobrocią swoją zachęcać ją na przyszłość do ponowienia tak okrutnych zwierzeń. Co najwyżej czynimy uwagę: „Ale jeżeli ci już robił takie propozycje, czemu zgodziłaś się iść z nim na herbatę?” —



„Żeby nie miał do mnie pretensji i nie mógł mówić, że nie jestem dobra dla niego”. A my nie śmiemy odpowiedzieć, że odmawiając, byłaby może lepsza dla nas...

Zresztą Albertyna przerażała mnie, powiadając, że dobrze robię, kiedy aby jej nie szkodzić, mówię, że nie jestem jej kochankiem. „Ostatecznie — dodawała — to szczerą prawdą, nie jesteś”. Istotnie, nie byłem może całkowicie, ale czyż w takim razie miałem sądzić, że wszystko to, cośmy robili z sobą, ona robi z każdym, o którym mi przysięga, że nigdy nie był jej kochankiem? Jakie to dziwne, wszystko poświęcać dlatego, aby za wszelką cenę dowiedzieć się, co Albertyna myśli, kogo widuje, kogo kocha, skoro niegdyś wobec Gilberty doznawałem tej samej potrzeby wiedzenia imion, faktów tak mi dziś obojętnych. Zdawałem sobie sprawę, że same w sobie postęпки Albertyny nie więcej mają wagi. Ciekawe jest, że o ile pierwsze uczucie, rozpulchniając niejako nasze serce, toruje drogę następnym miłościom, nie daje nam — mimo tożsamości objawów i cierpień — sposobu uleczenia ich.

Zresztą, czy potrzeba znać jakiś fakt? Czy nie poznaje się od razu w nieuchwytny sposób kłamstwa, a nawet dyskrecji kobiet, które coś ukrywają? Czy tu jest możliwość omyłki? Milczą uparcie wówczas, gdy my byśmy je tak chcieli pociągnąć za język. I czujemy, że swojemu współnikowi powiedziały: „Nie mówię nigdy nic. Ode mnie z pewnością nikt się nie dowie niczego; nie mówię nigdy nic”. Dajemy swój majątek, życie za jakąś istotę, a przecież wiemy, że za dziesięć lat, trochę wcześniej lub później, odmówilibyśmy jej tego majątku, wolelibyśmy zachować życie. Bo wówczas ta istota byłaby oderwana od nas, sama, to znaczy żadna.

Z daną istotą wiążą nas owe tysiączne korzenie, niezliczone nici usnute ze wspomnień wczorajszego wieczora, nadziei jutrzejszego ranka, nieprzerwana sieć nawyków, z której nie możemy się wyplątać. Tak samo jak są skąpcy, którzy gromadzą przez szczodrość, tak my jesteśmy rozrzutnicy, którzy wydają przez skąpstwo; poświęcamy życie nie tyle jakiejś istocie, ile wszystkiemu temu, co ona zdołała osnuć dokoła siebie z naszych godzin, z naszych dni; temu, przy czym życie jeszcze nie przeżyte, życie stosunkowo przyszłe, wydaje się nam czymś dalszym, bardziej oderwanym, mniej użytecznym, mniej naszym. Trzeba by się nam wyzwolić z tych więzów, o ileż ważniejszych niż sama osoba, przez to iż stwarzają w nas wobec niej chwilowe obowiązki. Obowiązki te sprawiają, że nie śmiemy jej opuścić z obawy stracenia w jej oczach, podczas gdy później nie wahałoby się tego uczynić, bo osoba ta odłączona od nas nie byłaby już nami, w istocie zaś jedynie wobec siebie samych stwarzamy sobie obowiązki — choćby przez pozorną sprzeczność miały nas przywieść w końcu do samobójstwa.

Jeżeli nie kochałem Albertyny (czego nie byłem pewny), miejsce jej w moim życiu nie było niczym nadzwyczajnym: żyjemy jedynie z istotami, których nie kochamy, które sprzegliśmy z sobą wyłącznie po to, aby zabić nieznośną miłość, czy chodzi o kobietę, czy o krainę, czy wreszcie o kobietę zawierającą jakąś krainę. Balibyśmy się nawet, że zaczniemy znów ją kochać w razie nowej rozłąki. Nie doszedłem z Albertyną do tego punktu. Jej kłamstwa, jej wyznania zmuszały mnie do dalszych poszukiwań prawdy: kłamstwa jej tak liczne dlatego, że nie poprzestawała na kłamaniu jak wszelka istota, która się czuje kochaną, ale że z natury była kłamliwa, a przy tym tak zmienna, że nawet mówiąc za każdym razem prawdę (na przykład, co myśli o ludziach), powiedziała mi za każdym razem coś innego; wyznania jej przez to, że tak rzadkie, tak hamowane, zostawiały między sobą — w tym, co tyczyło przeszłości — wielkie białe luki, na których przestrzeni trzeba mi było wykreślić jej życie, a w tym celu najpierw trzeba by je poznać.

Co się tyczy teraźniejszości (o ile mogłem interpretować sybilińskie<sup>1031</sup> słowa Franciszki), Albertyna okłamywała mnie już nie w poszczególnych punktach, ale w całości: „Ujrzę pewnego pięknego dnia wszystko”, co Franciszka rzekomo wiedziała, czego nie chciała mi powiedzieć, o co nie śmiałem jej pytać. Zresztą, z pewnością przez tę samą zazdrość, jaką niegdyś ścigała Eulalię, Franciszka mówiła rzeczy najmniej prawdopodobne, tak mętne, że można w nich było co najwyżej odgadnąć jakąś niewiarygodną insynuację, że na przykład biedna branka (amatorka kobiet) miała na oku jakieś małżeństwo, ale z kimś, kto niekoniecznie musiał być mną. Gdyby tak było, skąd Franciszka, mimo

<sup>1031</sup>sybiliński — proroczy, wieszczcy; *Sybilla* (mit. rzym.): wieszczka, autorka ksiąg, w których były zapisane proroctwa przyszłych losów Rzymu, przechowywanych w świątyni Jowisza Kapitońskiego, interpretowanych na żądanie senatu przez specjalne kolegium kapłańskie. [przypis edytorski]

swojej radiotelepatii, wiedziałyby o tym? Oczywiście, opowiadania Albertyny nie mogą rozstrzygnąć tej zagadki, bo były co dnia tak sprzeczne jak kolory bąka kończącego się kręcić. Widoczne zresztą było, że to nienawiść przemawia przez Franciszkę. Nie było dnia, żeby mi nie mówiła czegoś w tym sensie i żebym w nieobecności matki nie znosił takich na przykład aluzji:

„Nie ma co, panicz jest poczciwy, nie zapomnę nigdy wdzięczności, jaką paniczowi jestem winna — Franciszka mówiła tak zapewne po to, żeby mnie zachęcić do kupienia sobie praw do tej wdzięczności — ale dom jest zapowietrzony od czasu, jak dobroć pańska wpuściła tutaj łajdactwo, jak sama inteligencja popiera osobę najgłupszą, jaką w świecie widziano; jak rozum, maniery, dowcip, godność, mina i charakter prawdziwego ksiązątka dają nad sobą przewodzić najplugawszemu i najpospolitszemu łajdactwu, pozwalają sobie kolki ciosać na głowie i upokarzać mnie, mnie, co jestem od czterdziestu lat w rodzinie...”

Franciszka była wściekła na Albertynę, zwłaszcza o to, że jej, Franciszce, ma rozkazywać ktoś poza jej państwem; także o nadwyżkę domowej roboty, o zmęczenie, od którego cierpiało zdrowie naszej starej służącej. Mimo to nie chciała przyjąć żadnej pomocy; „Nie jest — mówiła — do niczego”. Wystarczyłoby to, aby wytłumaczyć jej zdenerwowanie, wybuchy nienawiści. Z pewnością pragnęłaby wygnania Albertyny-Estery. To było życzenie Franciszki. Ta pociecha byłaby już dla starej służącej odpoczynkiem. Ale moim zdaniem grało tu rolę nie tylko to. Taka nienawiść mogła się zrodzić jedynie w przemęczonym ciele. I bardziej jeszcze niż względów Franciszka potrzebowała snu.

Albertyna poszła się rozebrać, ja zaś, aby coś przedsięwziąć, spróbowałem zatelefonować do Anny; chwyciłem słuchawkę, wezwałem nieubłagane bóstwa, ale jedynie podnieciłem ich wściekłość, wyrażającą się słowem: „Zajęte”. W istocie, Anna rozmawiała z kimś. Czekaając, aż skończy, zastanawiałem się, jak to się dzieje (gdy tylu malarzy stara się wskrzesić portrety kobiece z XVIII wieku, gdzie pomysłowe *mise en scène*<sup>1032</sup> jest pretekstem do miniek oczekiwania, dąsu, ciekawości, marzenia), że żaden z naszych nowoczesnych Boucherów<sup>1033</sup> lub Fragonardów<sup>1034</sup> nie odmalował zamiast „listu”, „klawikordu” itd. sceny, która mogłaby się nazywać: „Przy telefonie” i w której na wargach słuchającej zakwitłby bezwiednie uśmiech tym prawdziwszy, że niewidziany.

Wreszcie Anna usłyszała mnie: „Czy wstąpisz po Albertynę jutro?” — rzekłem; przy czym wymawiając imię Albertyny, przypomniałem sobie zazdrość, jaką wzbudził we mnie Swann, mówiąc swego czasu na owym rauciu u księżnej Marii: „Niech pan zajdzie do Odety”. Pomyślałem wówczas, ile siły tkwi mimo wszystko w imieniu, które w oczach całego świata i samej Odety miało jedynie w ustach Swanna ów sens absolutnie „dzierzawczy”.

Jakże takie — streszczone w jednym wyrazie — położenie ręki na całej egzystencji wydawało mi się słodkie za każdym razem, kiedy byłem zakochany! Ale w rzeczywistości, kiedy można to uczynić, albo się to już stało obojętne, albo też przyzwyczajenie, nie nieważąc czułości, zmieniło jej słodczye w cierpienia. Kłamstwo to drobiazg, żyjemy pośród niego, uśmiechając się zeń tylko; uprawiamy je bez poczucia wyrządzonej komukolwiek krzywdy; ale zazdrość cierpi od kłamstwa i widzi więcej niż ono ukrywa (często kochanka odmawia spędzenia z nami wieczoru i idzie sama do teatru po prostu dlatego, żebyśmy nie widzieli, że źle wygląda). Jak często zazdrość pozostaje ślepa na to, co kryje prawda! Ale nie może nic uzyskać, bo te, co przysięgają, że nie kłamią, wzdragałyby się wyznać prawdy, bodaj pod gilotyną. Wiedziałem, że ja jeden, mówiąc do Anny, mogę powiedzieć w ten sposób: „Albertyna”. A przecież czułem, że jestem niczym dla Albertyny, dla Anny, dla siebie samego. I rozumiałem niemożliwość, o jaką się obja miłość.

Wyobrażamy sobie, że jej przedmiotem jest istota, która może leżeć koło nas, zamknięta w ciele. Niestety! Miłość jest rozpostarciem tej istoty na wszystkie punkty przestrzeni i czasu, jakie ta istota zajmowała i zajmować będzie. Jeżeli nie posiadamy jej kontaktu z danym miejscem, z daną godziną, nie posiadamy jej samej. Otóż nie możemy dosięgnąć wszystkich tych punktów. Gdybyż jeszcze ktoś nam je wskazał, zdołalibyśmy może dociągnąć się do nich. Ale szukamy po omacku, nie znajdując ich. Stąd nieufność,

<sup>1032</sup>*mise en scène* (fr. dosł.: umieszczanie na scenie) — scenografia i kompozycja wizualna. [przypis edytorski]

<sup>1033</sup>*Boucher, François* (1703–1770) — francuski malarz, grafik i dekorator, jeden z najbardziej znanych przedstawicieli rokoka. [przypis edytorski]

<sup>1034</sup>*Fragonard, Jean-Honoré* (1732–1804) — francuski malarz rokokowy, portrecista, autor lekkich, często frywolnych scen rodzajowych, jeden z jeden z najbardziej płodnych artystów swojego okresu. [przypis edytorski]

zazdrość, prześladowania. Tracimy drogi czas na niedorzecznym tropie i przechodzimy obok prawdy, nie domyślając się jej.

Ale już jedno z gniewliwych bóstw, rozkazujących zawrotnie zwinnym służebnikom, pognewało się już nie o to, że rozmawiam, ale że nic nie mówię. „Proszę pana, numer jest wolny, już od dawna ma pan połączenie, rozłączę pana”. Ale nie zrobiła tego i wywołując obecność Anny, spowiła ją — jak wielki poeta, którym zawsze jest telefonistka — atmosferą swoistą dla mieszkania, dzielnicy, nawet dla życia Anny.

— To ty? — rzekła Anna, której głos rzuciła mi zawrotnie szybko bogini mająca władzę dawania dźwiękom chyżości błyskawicy.

— Słuchaj — odparłem — jedźcie, gdzie chcecie, mniejsza o to gdzie, wyjąwszy do pani Verdurin. Trzeba za wszelką cenę odciągnąć Albertynę.

— Ale... bo ona właśnie wybiera się tam jutro.

— A!

Ale musiałem przerwać na chwilę i wykonać groźne gesty, bo o ile Franciszka wciąż — tak jakby to było coś równie przykrego jak szczepienie ospy i równie niebezpiecznego jak samolot — wzdragała się nauczyć telefonować, co by nas uwolniło od trudu połączeń (mogłaby je doskonale załatwiać), w zamian za to wchodziła natychmiast do mego pokoju, ilekroć miałem poufną rozmowę, którą specjalnie chciałem przed nią utaić. Wyszła wreszcie, długo zabawiając się zbieraniem rozmaitych przedmiotów, które leżały od wczoraj i mogły bezpiecznie zostać jeszcze godzinę, i dorzucając do ognia polano, bardzo zbyteczne wobec gorąca, jakim mnie przenikała obecność intruza i obawa, że mnie telefonistka rozłączy.

— Daruj — rzekłem do Anny — ktoś mi przeszkodził. Czy to całkiem pewne, że ona się wybiera jutro do Verdurinów?

— Absolutnie pewne, ale mogę jej powiedzieć, że sobie tego nie życzysz.

— Nie, przeciwnie, możebne jest, że ja się wybiorę z wami.

— A! — rzekła Anna z wyraźnym niezadowoleniem i jakby przestraszona moją odwagą, w której mnie zresztą tylko umocniła.

— Zatem do widzenia, przepraszam, że cię na próżno trudziłem.

— Ależ nie — rzekła Anna i dodała (w miarę rozpowszechnienia telefonu rozwinął się dokoła niego ornament specjalnych frazesów, jak niegdyś koło „herbaty”): — Bardzo mi było miło usłyszeć twój głos.

Mogłem powiedzieć to samo, i szczerzej niż Anna, bo od jakiegoś czasu byłem nader czuły na jej głos, nie zauważywszy wprzód, że jest tak różny od innych. Wówczas przypomniałem sobie jeszcze inne głosy, głosy kobiet zwłaszcza, jedne zwolnione precyzją pytania i napięciem uwagi, drugie zdyszane, nawet przerywane liryczną falą opowiadania; przypomniałem sobie kolejno głosy każdej ze znajomych dziewcząt w Balbec; potem głos Gilberty, potem głos babki, potem pani de Guermantes; wydały mi się wszystkie odmienne, zestrojone z językiem każdej, grające na odmiennym instrumencie; i pomyślałem, jaki chudy koncertik muszą dawać w niebie trzy lub cztery muzykujące anioły z obrazów dawnych mistrzów, kiedy widział wznoszące się do Boga dziesiątkami, setkami, tysiącami, harmonijne i wielodźwięczne pozdrowienie wszystkich Głosów. Zanim opuściłem telefon, podziękowałem w paru dobranych słowach tej, co włada chyżością dźwięków, iż zechciała użyć na rzecz moich skromnych słów władzy czyniącej je sto razy szybszymi od grzmotu; ale moje dzięki nie doczekały się innej odpowiedzi niż przerwanie połączenia.

Kiedy Albertyna wróciła, miała na sobie czarną atlasową suknię, która podkreśliła jeszcze jej błądź, czyniąc z niej chlorotyczną<sup>1035</sup> i zgorączkowaną paryżankę, wypompowaną brakiem powietrza, atmosferą tłumów i może nałogiem grzechu. Oczy jej zdawały się bardziej niespokojne, bo ich nie poweselała różowość policzków.

— Zgadnij — rzekłem — do kogo telefonowałem. Do Anny.

— Do Anny! — wykrzyknęła Albertyna, zdziwiona, podniecona, tonem nieharmonizującym z tak prostą wiadomością. — Mam nadzieję, iż nie zapomniała ci powiedzieć, żeśmy spotkały kiedyś panią Verdurin.

<sup>1035</sup>chlorotyczny — błądź lub poźółkły, charakterystyczny dla chlorozy, stanu chorobowego roślin, w którym liście wytwarzają niewystarczającą ilość chlorofilu. [przypis edytorski]

— Panią Verdurin? Nie przypominam sobie — odparłem z miną taką, jakbym myślał o czym innym, chcąc się okazać obojętny na to spotkanie i nie zdradzić Anny, że się wygadała z tym, dokąd Albertyna wybiera się jutro.

Ale kto wie, czy Anna mnie nie zdradza? Może jutro opowie Albertynie, że ją prosił, aby jej nie puściła za żadną cenę do Verdurinów? Kto wie, może jej już wyznała, że to nie było pierwsze podobne zlecenie z mojej strony. Zaręczała mi, że niczego nie powtarza nigdy, ale zakłębieniu temu przeczył fakt, że od jakiegoś czasu z twarzy Albertyny znikła ufność, jaką mnie darzyła tak długo.

Ciekawe jest, że już na kilka dni przed tym niezrozumieniem miałem z Albertyną inną sprzeczkę, ale w obecności Anny. Otóż Anna, dając dobre rady Albertynie, zawsze robiła wrażenie, że jej podsuwa złe myśli. „Słuchaj, nie mów w ten sposób, przestań” — mówiła, jakby upojona szczęściem. Twarz jej przybierała suchy malinowy odcień, typowy dla gospodyń-dewotek, wygryzających kolejno wszystkie służące. Podczas gdy ja obsypywałem Albertynę pożałowania godnymi wymówkami, Anna robiła wrażenie, że sse z rozkoszą cukier lodowaty. W końcu nie mogła powstrzymać tkliwego śmiechu. „Chodź, Titinko, do mnie. Ty wiesz, że ja jestem twoja kochana siostrzyczka”. Nie tylko mnie drażniło to słodkawe lepienie się, ale zastanawiałem się, czy Anna ma naprawdę dla Albertyny przyjaźń, o której tyle mówi. Ponieważ Albertyna, która znała Annę gruntownie ode mnie, stale wzruszała ramionami, kiedym pytał, czy jest pewna uczuć Anny, i odpowiadała zawsze, że nikt na świecie tak jej nie kocha, pewien jestem jeszcze teraz, że przywiązanie Anny było szczere. Może w jej zamożnej, ale prowincjonalnej rodzinie znalazłoby się odpowiednik tego w pewnych sklepach na Placu Biskupim, gdzie niektóre słodczyce uchodzą za „co tylko może być najlepszego”. Ale co do mnie (mimo iż zawsze dochodziłem do przeciwnej konkluzji), tak dalece miałem wrażenie, iż Anna stara się upokorzyć przyjaciółkę, że natychmiast brałem w duchu stronę Albertyny i gniew mój opadał.

Cierpienie w miłości ustaje chwilami, ale po to, aby się zacząć na nowo inaczej. Bojemy, widząc, że ukochana nie ma już dla nas owych wybuchów sympatii, miłosnych zrywów, jakie miała z początku; bardziej jeszcze nas boli, że straciwszy je wobec nas, odzyskuje je dla innych; potem od tego cierpienia odrywa nas nowa, okrutniejsza męka: podejrzenie, że nas okłamała co do wczorajszego wieczoru, że nas z pewnością zdradziła. To podejrzenie również się rozprasza; czułość kochanki uspokaja nas, ale wówczas wraca jakieś zapomniane słówko; powiedział nam ktoś, że ona ma „szalony temperament”, a myśmy ją znali raczej chłodną; próbujemy sobie wyobrazić, czym były owe szaty z innymi; czujemy, jak mało znaczymy dla niej, spostrzegamy wyraz nudy, nostalgii, smutku, jaki ma w naszym towarzystwie; zauważamy (na kształt pochmurnego nieba) nieświeże suknie, które kładzie dla nas, zachowując dla innych toalety, którymi w początkach chciała nas czarować. W zamian jeżeli jest czuła, co za radość! Ale widząc ten języczek wysuwający się niby wezwanie, myślimy o kobietach, do których to wezwanie zwracało się tak często... Może nawet kiedy jest ze mną i nie myśli o nich, gest ten — rezultat przyzwyczajenia — pozostał czymś machinalnym? I wraca uczucie, że ją nudzimy. Ale nagle cierpienie to staje się czymś bardzo drobnym na myśl o złowrogim sekrecie jej życia, o niezbadanych miejscach, w których była, w których jest może jeszcze w godzinach, gdy nie jest z nami, jeżeli nawet nie zamierza umknąć tam na stałe; o miejscach, gdzie jest daleka od nas, nie nasza, szczęśliwsza niż z nami. Na takim wolnym ogniu obraca nas zazdrość.

Zazdrość jest zarazem demonem, którego nie można zakłębć; wciąż wraca, wciąż wciela się w nową formę. Gdybyśmy zdołali wytepić je wszystkie, trzymać wciąż przy sobie kochaną istotę, Duch Złego przybrałby wówczas jeszcze inną, patetyczniejszą formę: rozpacz, żeśmy zdobyli jej wierność jedynie siłą, rozpacz bezwzajemności.

Między Albertyną a mną była często zaporą milczenia, utworzonego z pewnością z żalów, które tała, bo uważała je za beznadziejne. Mimo iż tak słodka w pewne wieczory, Albertyna nie miała już owych odruchów z Balbec, kiedy mówiła: „Jakiś ty milutki!” i kiedy serce jej zdawało się biec ku mnie bez zastrzeżeń i pretensji. Teraz kryła je, uważając je z pewnością za nieodwołalne, niepodobne do zapomnienia. Niewyznane, niemniej kładły one pomiędzy nami znaczącą ostrożność jej słów lub przestrzeń nieubłaganego milczenia.

— A czy można wiedzieć, po coś telefonował do Anny?

— Spytać się, czy nie ma nic przeciwko temu, żebym się wybrał z wami do Verdurinów z wizytą, którą im przyrzekam od czasów la Raspeliere.

— Jak zechcesz. Ale uprzedzam cię, że jest dziś straszliwa mgła i jutro z pewnością będzie także. Mówię ci to, bo nie chciałabym, żebyś sobie zaszkodził. Pojmujesz, ja bym wolala, żebyś poszedł z nami. Zresztą — dodała w zamyśleniu — ja zupełnie nie wiem, czy pójde do Verdurinów. Byli dla mnie tak uprzejmi, że w istocie powinnabym... Po tobie to są ludzie, którzy jeszcze byli najlepsi dla mnie; ale są drobiazgi, które mnie u nich rażą. Muszę koniecznie wybrać się do Bon Marché albo do Trois-Quartiers kupić biały żabocik, bo ta suknia jest za czarna.

Pozwolić Albertynie iść samej do wielkiego magazynu, pełnego ludzi ocierających się o nią, mającego tyle wyjść, że można potem powiedzieć, iż wychodząc, nie odnalazło się wehikułu, który czekał trochę dalej — nie! byłem zdecydowany nie pozwolić na to, ale zwłaszcza byłem nieszczęśliwy. A jednak nie zdawałem sobie sprawy z tego, że już dawno powinien bym przestać widywać Albertynę, bo weszła dla mnie w ów żalony okres, kiedy istota rozpylona w czasie i w przestrzeni nie jest już dla nas kobietą, ale szeregiem niewyjaśnionych wydarzeń, szeregiem niepodobnych do rozwiązania zagadnień, morzem, które jak Kserkses próbujemy pocieszyć chłostać, aby je ukarać za to, co pochłonęło. Skoro się zacznie ten okres, klęska nasza jest nieuchronna. Szczęśliwi ci, co pojmą to dość wcześnie, aby nie przedłużać bezużytecznej i wyczerpującej walki ujętej ze wszystkich stron granicami wyobraźni; walki, w której zazdrość szamoce się tak haniebnie, że ten sam człowiek, który niegdyś za lada spojrzeniem pozostającej wciąż przy nim kobiety, skierowanym przez chwilę do innego, wietrzył miłość, cierpiał istne męki, znosi później, żeby wychodziła sama, bodaj z notorycznym kochankiem, wołając tę torturę, przynajmniej znaną, od czegoś niewiadomego! To rzecz nabycia rytmu, który zachowujemy potem z przyzwyczajenia. Nerwowcy, niezdolni opuścić jednego obiadu, odbywają potem trwające bez końca kuracje w sanatoriach; kobiety niedawno jeszcze lekkie, żyją pokutą. Zazdrośnik, który aby szpiegować ukochaną, pozbawił się snu, spoczynku, uczuwszy, że jej pragnienia, że szeroki i tajemniczy świat, że czas silniejsze są od niego, pozwala kobiecie wychodzić samej, potem podróżować — potem rozstają się. Zazdrość kończy się w ten sposób z braku pokarmu; trwała tak długo jedynie dlatego, że go wciąż żądała. Byłem daleki od tego stanu.

Mogłem teraz swobodnie, ile razy chciałem, odbywać spacer z Albertyną. Powstały dokoła Paryża hangary, będące dla samolotów tym, czym porty dla statków. Od dnia, kiedy w pobliżu la Raspeliere na wpół mitologiczne spotkanie pilota, którego lot spłoszył mego konia, stało się dla mnie niby obrazem wolności, lubiłem często, o schyłku dnia, obierać lotnisko za cel naszych spacerów. Albertyna, zapalona do wszystkich sportów, lubiła to. Pociągało nas owo nieustające życie odlotów i przylotów, dające tyle uroku spacerom po przystani lub bodaj po wybrzeżu, dla tych co kochają morze, oraz waleśnianiu się po lotnisku dla tych, co kochają niebo. Co chwila pośród spoczynku bezwładnych i jakby zakotwiczonych aparatów widzieliśmy któryś, mozolnie ciągniony przez kilku mechaników, tak jak się ściera z piasku łódź dla amatora morskiej przejażdżki. Potem motor zaczynał warczeć, aparat biegł, brał rozmach, potem wznosił się z wolna prostopadle w zeszywniałej, jakby znieruchomiałej ekstazie, zmieniawszy nagle horyzontalną chyżość w majestatyczne i pionowe wniebowstąpienie.

Albertyna nie mogła powściągnąć radości, wypytywała mechaników, którzy teraz, kiedy aparat już uleciał, wracali. Tymczasem pasażer przebył całe kilometry; wielkie czółno, w które wciąż wlepialiśmy oczy, było już w lazurze ledwie dostrzegalnym punktem, który zresztą miał odzyskać stopniowo swoją materialność, wielkość, objętość, skoro z końcem przejażdżki nadejdzie moment powrotu. I w chwili gdy turysta wyskakiwał na ziemię, z zazdrością patrzyliśmy oboje na tego, co w tych samotnych horyzontach zakosztował spokoju i czystości wieczoru. Następnie bądź z lotniska, bądź — kiedy indziej — z jakiegoś muzeum lub kościoła, któregośmy wybrali się zwiedzić, wracaliśmy na obiad. Mimo to nie wracalem uspokojony, tak jak bywało w Balbec po owych rzadszych spacerach, trwających — co mnie przejmowało dumą — całe popołudnie; spacerach, które odcinały się dla mnie później niby klomby kwiatów na życiu Albertyny, niby na pustym niebie, w którego obliczu marzy się z łagodną bezmyślnością. Czas Albertyny nie należał

do mnie wówczas w tak wielkich ilościach jak dziś, ale zdawał się bardziej mój, bom liczył jedynie godziny jej życia ze mną, miłość moja cieszyła się nimi jak łaską; obecnie liczyłem tylko godziny, które ona spędzała beze mnie, przy czym zazdrość moja szukała w nich gorączkowo możliwości zdrady.

Otóż — jutro może — Albertyna zapagnie takich godzin! Trzeba by wybrać: przestać cierpieć albo przestać kochać. Bo miłość, jak w początkach rodzi się z pragnienia, tak później żyje wyłącznie bolesnym niepokojem. Czuję, że część życia Albertyny umyka mi się. Miłość w swojej bolesnej trwodze, jak w szczęściu pragnienia, jest żądaniem wszystkości. Rodzi się, istnieje tylko o tyle, o ile pozostaje coś do zdobywania. Kochamy jedynie to, czego nie posiadamy całkowicie.

Albertyna kłamała, mówiąc, że zapewne nie pójdzie do Verdurinów, jak ja kłamałem, mówiąc, że chciałem wybrać się do nich. Starła się jedynie zapobiec temu, abym jej towarzyszył; ja zaś nagłym oznajmieniem tego projektu, którego bynajmniej nie zamierzałem wykonać, starałem się zmacać w niej punkt, który mi się zdawał najczulszy, poczuć jej ukrywaną chęć i zmusić ją do wyznania, że moja jutrzejsza obecność nie pozwoliłaby jej zaspokoić tej chęci. Albertyna uczyniła to zresztą, tracąc nagle ochotę do wizyty u Verdurinów.

— Jeżeli nie chcesz iść do Verdurinów — rzekłem — jest w Trocadéro wspaniałe benefisowe przedstawienie.

Wysłuchiła z boleściwą miną mojej rady. Zacząłem być dla niej przykry jak w Balbec w czasach mojej pierwszej zazdrości. Twarz Albertyny wyrażała zawód, ja zaś piętrzyłem argumenty, które tak często, kiedy byłem mały, przeciwstawiali mi rodzice i które wydawały się memu niezrozumianemu dziecięctwu tępe i okrutne.

— Nie, mimo twojej smutnej minki — powiadałem — nie mogę cię żalować; żalowałbym cię, gdybyś była chora, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście, gdybyś straciła kogoś z rodziny, co by ci zresztą nie sprawiło może żadnej przykrości wobec nadmiaru fałszywej uczuciowości, który trwonisz dla niczego. Zresztą ja mam niewielkie pojęcie o sercu ludzi, którzy nas rzekomo kochają, a nie są zdolni oddać nam najłżejszej przysługi; ludzi mimo rzekomej ciągłej myśli o nas zdolnych zapomnieć listu, któryśmy im powierzyli, a od którego zależy nasza przyszłość.

Wszystkie te słowa (większość tego, co mówimy, jest tylko powtarzaniem!) słyszałem w ustach matki, tłumaczącej mi chętnie, że nie trzeba mieszać prawdziwej uczuciowości — tego, co Niemcy (których język bardzo podziwiała mimo wstrętu mego ojca do tego narodu) nazywają *Empfindung* — z czułościową *Empfinderei*. Raz, kiedy płakał, matka powiedziała mi wręcz, iż Neron<sup>1036</sup> był może nerwowy, ale nie był przez to lepszy. W istocie, jak owe rośliny, które rozdwiają się, rosnąc, spoza wrażliwego dziecka, jakim niegdyś wyłącznie byłem, wyglądał teraz wręcz odmienny mężczyzna, rozsądny, surowy sędzia chorobliwej wrażliwości innych, człowiek podobny do tego, czym rodzice byli dla mnie. Widocznie każdy musi w sobie kontynuować życie swoich bliskich; zrównoważony i ironiczny jegomość, który nie istniał we mnie na początku, złał się z wrażliwcem; naturalne było, że się stałem z kolei takim, jakimi byli niegdyś moi rodzice.

Co więcej, w chwili gdy się tworzyło to nowe „ja”, znajdowało ono swój gotowy już język we wspomnieniu ironicznego i karcącego języka, którym do mnie mówiono niegdyś, a którym teraz ja miałem mówić do innych. Wychodził on całkiem naturalnie z moich ust, czy żem go wywoływał przez mimetyzm<sup>1037</sup> i przez skojarzenie wspomnień, czy że delikatne i tajemnicze zakłęcia sił życiowych wyrysowały we mnie, bez mojej wiedzy, niby na liściu rośliny, te same intonacje, gesty, pozy, jakie mieli moi rodziciele. Bo czasami w rozmowie z Albertyną, w trakcie odgrywania rozsądnego człowieka, zdawało mi się, że słyszę babkę; czyż zresztą nie zdarzyło się matce myśleć czasem, że to ojciec wchodzi, tak dalece miałem ten sam sposób pukania; tajemne i nieświadome prądy władzały we mnie nawet drgnieniami palców, wprawionych w ten sam rytm, co palce rodziców.

Z drugiej strony złączenie sprzecznych czynników jest prawem życia, zasadą zapłodnienia i — jak się okaże — przyczyną wielu nieszczęść. Zazwyczaj nienawidzimy tego,

<sup>1036</sup>Neron, właśc. *Nero Claudius Caesar Augustus Germanicus* (37–68) — cesarz rzymski od 54, przedstawiany jako symbol okrucieństwa władzy; poeta i aktor, miłośnik kultury i sztuki greckiej; wg plotek obserwował pożar Rzymu z podziwem dla żywiołu, grając na lirze i śpiewając pieśń o spaleniu Troi. [przypis edytorski]

<sup>1037</sup>mimetyzm (z gr.) — naśladownictwo. [przypis edytorski]

co jest do nas podobne; własne wady, widziane z zewnątrz, drażnią nas. O ileż bardziej jeszcze ktoś, kto przekroczył wiek, gdy się swoje wady wyraża szczerze, kto na przykład w najpłomienniejszych chwilach obleka twarz z lodu, nienawidzi tych samych wad, jeżeli je wyraża ktoś inny, młodszy, naiwniejszy lub głupszy! Zdarzają się ludzie wrażliwi, dla których w oczach innych osób widok łez, które sami powstrzymują, jest nieznośny. Zbyt wielkie podobieństwo rodzi niesnaski w rodzinach — mimo wzajemnego przywiązania — a często tym bardziej, im przywiązanie jest większe.

Może u mnie i u wielu innych ów drugi człowiek, jakim się stałem, był po prostu jedną z fizjonomii pierwszego, egzaltowanego i wrażliwego w stosunku do siebie, roztropnego mentora dla drugich. Może tak samo było i z rodzicami, zależnie od tego, czy się ich brało w odniesieniu do mnie, czy samych w sobie. Co się tyczy babki i matki, aż nadto widoczne było, że ich surowość dla mnie była rozmyślna i nawet wiele je kosztowała; ale może i u ojca chłód był tylko zewnętrzną formą uczuciowości? Kiedy mówiąc o ojcu, powiadano: „Pod lodowatym chłodem kryje niezwykłą uczuciowość; główną jego cechą jest wstydlivość serca” — niegdyś zdawało mi się to równie fałszywe, jak banalne; otóż może ta formuła wyrażała ludzką prawdę tej podwójnej fizjonomii: życia wewnętrznego i stosunków społecznych. Czy w gruncie jego spokój nie krył nieustannych i tajemnych burz? Ten spokój, w potrzebie usiany sentencjami i refleksjami, ironią wobec chorobliwych przejawów uczuciowości? Ten spokój, właściwy ojcu, który ja teraz przybierałem wobec wszystkich, a zwłaszcza w pewnych okolicznościach w stosunku do Albertyny?

Sądzę, że naprawdę tego dnia miałem zdecydować nasze rozstanie i jechać do Wenecji. To, co mnie zakulo z powrotem, wiązało się z Normandią; nie iżby Albertyna objawiała jakąś chęć udania się w owe strony nasycone moją zazdrością (na szczęście bowiem nigdy projekty Albertyny nie dotykały bolesnych punktów mojego wspomnienia), ale dlatego że kiedym jej powiedział: „To mi przypomina ową przyjaciółkę ciotki, która mieszkała w Infreville”, Albertyna odpowiedziała gniewnie, szczęśliwa — jak każdy, kto się kłóci i kto stara się znaleźć możliwie najwięcej argumentów — że może pokazać, iż jestem w błędzie, a ona ma słuszość: „Ależ nigdy ciotka nie znała nikogo w Infreville i ja nigdy tam nie byłam”.

Zapomniała o bajeczce ukutej pewnego wieczora o drażliwej damie, do której musi koniecznie jechać na herbatę, choćby miała dla tej wizyty stracić swoją przyjaźń i zadać sobie śmierć. Nie przypominałem jej tego kłamstwa. Ale przygnębiło mnie. I odłożyłem jeszcze zerwanie. Nie potrzeba być szczerą ani nawet zręcznie kłamać na to, aby być kochaną. Nazywam tu miłością wzajemną udrekę. Nie uważałem za naganne owego wieczora mówić do Albertyny tak jak babka, istota tak doskonała, mówiła niegdyś do mnie; ani też oznajmiając Albertynie, że jej będę towarzyszył do Verdurinów, nie zamierzałem naśladować szorstkości ojca, który oznajmiał nam swoje decyzje w sposób zdolny przyprowadzić o maksimum wzburzenia — bez proporcji z samą decyzją. W ten sposób łatwo mógł ojciec wytknąć naszą niedorzeczność w tym, że wpadamy w rozpacz dla takiej drobnostki, gdy w istocie rozpacz odnosiła się do wstrząsu, o jaki nas przyprowadził. Tak samo jak nieugięta mądrość babki, tak i te arbitralne decyzje ojca zwały się z moją wrażliwością, której były tak długo obce i którą przez całe dzieciństwo tyle nadręczały, że nabrałem bardzo ścisłego doświadczenia co do punktów, w które należało mi skutecznie mierzyć: nie ma lepszego szpiega niż dawny złodziej lub poddany narodu, który się zwalcza. W rodzinie kłamczuchów brat przybywający odwiedzić brata bez wyraźnego powodu i pytający go niedbale na odchodnym, w progę, o jakąś informację, której nawet nie bardzo słucha, zdradza tym samym, że owa informacja była celem jego wizyty; brat zna dobrze te obojętne miny, te słowa rzucone jakby nawiasem w ostatniej sekundzie, ile że sam się często nimi posługiwał. Otóż są także patologiczne rodziny, pokrewne psychiki, bratnie usposobienia, świadome tego cichego języka, dzięki któremu rodzina rozumie się bez słów. Któż może być bardziej denerwujący niż człowiek nerwowy?

A wreszcie moje postępowanie miało może w takich razach ogólniejszą i głębszą przyczynę. Bo w tych krótkich, lecz nieuniknionych chwilach, kiedy się nienawidzi kogoś, kogo się kocha — chwilach, trwających niekiedy całe życie z ludźmi, których się nie kocha — człowiek nie chce się wydać dobry, aby nie budzić współczucia; przeciwnie, chce się wydać zarazem najgorszy i możliwie najszcześniejszy, iżby szczęście nasze było naprawdę obmierzone i zraniło duszę przygodnego lub trwałego wroga. Wobec iluż ludzi

spotwarzałem się jedynie po to, aby się im moje „sukcesy” wydały niemoralne i bardziej ich drażniły! Godziłoby się raczej iść przeciwną drogą: okazywać bez dumy swoje dobre uczucia, zamiast się z nimi kryć tak bardzo. I to byłoby łatwe, gdybyśmy umieli nigdy nie nienawidzić, zawsze kochać. Bo wówczas dawaloby nam tyle rozkoszy mówić tylko rzeczy zdolne uszczęśliwić innych, wzruszyć ich, pozyskać ich miłość!

Niewątpliwie czułem nieco wyrzutów, że jestem tak niezdolny dla Albertyny. Powiedziałem sobie: „Gdybym jej nie kochał, byłaby mi wdzięczniejsza, bo nie byłbym dla niej zły; ale nie, to by się wyrównało, bo byłbym także mniej szczodry”. I mógłbym na swoje usprawiedliwienie powiedzieć jej, że ją kocham. Ale wyznanie tej miłości, poza tym, że nie byłoby dla Albertyny niczym nowym, ochłodziłoby ją w stosunku do mnie może bardziej niż brutalność i podstęp, których jedynym wytłumaczeniem była właśnie miłość. Być brutalnym i podstępnym wobec tej, którą się kocha, to takie naturalne! Jeżeli nasza życzliwość dla innych nie przeszkadza być z nimi łagodnym i ustępliwym, to dlatego że ta życzliwość jest kłamliwa. „Inny” jest nam obojętny, a obojętność nie pobudza do złości.

Wieczór mijał. Albertyna pójdzie się położyć; nie było wiele czasu do stracenia, gdybyśmy się chcieli pogodzić, zacząć się znów całować. Żadne z dwojga nie powzięło jeszcze inicjatywy. Czując, że Albertyna się na dobre gniewa, skorzystałem z tego, aby wspomnieć o Esterze Lévy.

— Bloch powiedział mi (co było nieprawdą), żeś ty dobrze znała jego kuzynkę Esterę.

— Nie poznałabym jej nawet — rzekła Albertyna mglisto.

— Widziałem jej fotografię — dodałem w gniewie.

Nie patrzyłem na Albertynę, mówiąc te słowa, tak że nie widziałem wyrazu jej twarzy, który byłby jedyną odpowiedzią, bo nie rzekła nic.

To, czegom doznawał przy Albertynie w takiej chwili, to już nie był kojący pocałunek matki w Combray, ale przeciwnie niepokój owych wieczorów, kiedy matka ledwo mi powiedziała dobranoc lub nawet nie zaszła do mojego pokoju, czy że gniewała się na mnie, czy że zatrzymali ją goście. Ten niepokój — nie tylko jego transpozycja na miłość — nie, sam ten niepokój, który się okresowo wyspecjalizował w miłości, a który wchodził w grę sam, wówczas gdy nastąpił podział, rozszczępienie uczuć, teraz rozciągał się znowu na nie wszystkie, znów niepodzielny jak w dzieciństwie. Jak gdyby wszystkie moje uczucia — drżąc, że nie zdołają zatrzymać Albertyny przy moim łóżku równocześnie jako kochanki, jako siostry, jako córki, jako matki także, której codziennego „dobranoc” zaczynałem znów odczuwać dzieciinną potrzebę — zaczęły się skupiać, jednoczyć w przedwczesnym wieczorze mojego życia; zapowiadało się ono tak krótkie jak dzień zimowy! Ale o ile wracał ów niepokój mojego dzieciństwa, zmiana osoby, która go budziła, różnica uczuć, przeobrażenie wreszcie mojego charakteru, czyniły mi niepodobieństwem żądać ukojenia od Albertyny, jak niegdyś od matki.

Nie umiałem już powiedzieć: „Jestem smutny”. Ograniczałem się z rozpaczą w duszy do mówienia o rzeczach obojętnych, niezblizających mnie w niczym do szczęśliwego rozwiązania. Dreptałem w miejscu w bolesnych banalnościach. I z owym intelektualnym egoizmem, który kiedy błaha prawda odnosi się do naszej miłości, każe nam przyznawać zasługę temu, co ją odkrył — może równie przypadkowo jak kabalarka, która nam oznajmiła fakt banalny, ale później spełniony — skłonny byłem uważać Franciszkę za istotę wyższą od Bergotte’a i Elstira, bo powiedziała w Balbec: „Ta dziewczyna sprawi paniczowi same jeno zmartwienia”.

Każda minuta zbliżała mnie do owego „dobranoc”, które mi Albertyna powiedziała w końcu. Ale tego wieczora pocałunek jej, w którym ona była nieobecna, a który do mnie nie trafiał, zostawił mi tyle niepokoju, że z drgającym sercem przeprowadziłem ją wzrokiem do drzwi, myśląc: „Jeżeli mam znaleźć jakiś pretekst, aby ją odwołać, zatrzymać, pogodzić się z nią, trzeba się spieszyć, ma już tylko kilka kroków do drzwi, już tylko dwa, tylko jeden, naciska klamkę; otwiera, za późno, zamknęła drzwi!”.

Może jeszcze jednak nie za późno. Jak niegdyś w Combray, wówczas gdy matka wyszła, nie ukoivszy mnie pocałunkiem, chciałem biec w ślad Albertyny, czułem, że nie zaznam spokoju, aż ją ujrzę, że to ujrzanie jej stanie się czymś olbrzymim, czym nie było jeszcze dotąd, i że gdybym się nie zdołał sam uwolnić od tego smutku, nabrałbym może haniebnego zwyczaju zebrania o to u Albertyny. Wyskakiwałem z łóżka, kiedy ona była już u siebie, błędziłem po korytarzu w nadziei, że wyjdzie i zawoła mnie. Stałem nieru-



chomy pod drzwiami w obawie, że mógłbym nie dosłyszeć słabego wołania; wracałem na chwilę do pokoju, aby sprawdzić, czy Albertyna nie zostawiła szczęśliwie jakiejś chustki, woreczka, czegośkolwiek: mógłbym wówczas, niby to bojąc się, że jej to może być potrzebne, mieć pretekst pójścia do niej. Nie, nic. Wracałem czatować pod drzwiami, ale przez szczelinę już nie było widać światła. Albertyna zgasiła, położyła się, ja tkwiłem nieruchomy, spodziewając się czegoś — nie wiadomo czego — co nie przychodziło, i w długi czas potem, przemarznięty, wracałem, aby się wsunąć pod kołdrę, i płakałem całą noc.

Czasami uciekałem się do podstępny, którym zyskiwałem pocałunek Albertyny. Wiedząc, jak szybko zasypia, kiedy się położy (ona wiedziała także, bo instynktownie, z chwilą gdy się miała wyciągnąć, zdejmowała pantofelki — prezent ode mnie — i pierścionek, który kładła obok, jak robiła w swoim pokoju przed spaniem), wiedząc, jak głęboko śpi i jak tkliwe ma przebudzenie, niby to szedłem poszukać czegoś i kładłem ją na swoim łóżku. Kiedy wracałem, już spała: miałem przed sobą ową inną kobietę, którą stawiała się Albertyna oglądana wprost, *en face*. Ale zmieniała szybko osobowość, kiedy się wyciągnął koło niej, znów mając ją z profilu. Mogłem włożyć dłoń w jej rękę, kłaść dłoń na jej ramieniu, na policzku; wciąż spała.

Mogłem brać jej głowę, przechylać ją, położyć ją na swoich wargach, otoczyć sobie szyję jej ramionami; dalej spała, tak jak zegarek wciąż idzie, jak zwierzę żyje dalej bez względu na nadaną mu pozycję, jak pnąca się roślina, powój, dalej wypuszcza gałązki, zaczepiwszy się o cokolwiek. Jedynie oddech jej zmieniał się od każdego dotknięcia, tak jakby była instrumentem, na którym bym wykonywał modulacje, wydobywając odmienne nuty to z tej, to z innej struny. Zazdrość moja opadała: czułem, że Albertyna stała się stworzeniem, które oddycha, które nie jest niczym innym. Świadczył o tym regularny oddech, wyrażający ową czysto fizjologiczną funkcję, która, na wskroś płynna, nie posiada gęstości ani słowa, ani milczenia; oddech jej, nieświadomy niczego złego, wydobywający się raczej z pustej trzciny niż z ludzkiej istoty, był naprawdę rajski, był dla mnie niby czysty śpiew aniołów. W takich chwilach odczuwałem Albertynę jako istotę wyzwoloną ze wszystkiego, nie tylko materialnie, ale moralnie. A jednak — powiadałem sobie nagle — musi w tym oddechu igrać wiele imion podszeptanych przez pamięć. Czasem nawet do tej muzyki dołączał się głos ludzki. Albertyna wymawiała jakieś słowa. Jakżebym chciał pochwycić ich sens! Zdarzało się, że imię osoby, o którejśmy mówili i o którą byłem zazdrosny, zjawiało się na wargach Albertyny, ale nie zadając mi bólu, bo wspomnienie, które sprowadziło tam owo imię, zdawało się jedynie echem naszej rozmowy. Mimo to pewnego wieczora, z zamkniętymi oczami, na wpół rozbudzona, rzekła, zwracając się do mnie: „Anna”. Ukryłem wzruszenie. „Ty śniesz, ja nie jestem Anna” — rzekłem, śmiejąc się. Uśmiechnęła się także: „Ależ nie, chciałam spytać, co mówiła Anna”. — „Raczej myślałbym, żeś ty czasem tak leżała koło niej”. — „Ale nie, nigdy” — rzekła. Ale zanim to wyrzekła, ukryła na chwilę twarz w dłoniach. Milczenie Albertyny było tedy tylko zasłoną; powierzchowna jej czułość kryła w głębi tysiąc wspomnień, które by mnie rozdarły; życie jej pełne było owych faktów, których żartobliwa opowieść wypełnia wesołą plotką codzienne nasze gawędy na temat innych osób, obojętnych. Ale dopóki jakaś istota tkwi w naszym sercu, wszystko to zdaje się nam tak cennym oświetleniem jej życia, że aby poznać ten podziemny świat, oddalibyśmy chętnie nasze. Wówczas sen Albertyny wydawał mi się cudownym i magicznym światem, gdzie chwilami z głębi ledwie że przejrzystego żywiołu wznosi się wyznanie niepojętej tajemnicy.

Ale zazwyczaj, kiedy Albertyna spała, zdawała się odzyskiwać niewinność. W pozie, którą jej nadałem, ale którą jej sen szybko sobie przyswoił, wyglądała tak pełna ufności! Twarz jej straciła wszelką chytrą lub pospolitą; wyciągała ku mnie ramię, opierała na mnie rękę, zdawało się, że istnieje między nami zupełna harmonia, nierozzerwalne przywiązanie. Sen jej zresztą nie odłączał jej ode mnie i zostawiał w niej poczucie naszej czułości; raczej unicestwiał wszystko inne; całowałem ją, mówiłem, że się pójde trochę przejść, ona rozchyłała oczy, mówiła zdziwiona — i w istocie, była już noc: „Ale gdzie ty teraz idziesz, kochanie”, nazywając mnie po imieniu, i natychmiast zasypiała na nowo. Sen jej był tylko jak gdyby wymazaniem reszty życia, gładkim milczeniem, z którego zrywały się od czasu do czasu poufale i czule słowa. Składając te słowa, stworzyłyby się

rozmowę bez obcego aliażu<sup>1038</sup>, sekretne współzycie czystej miłości. Ten spokojny sen czarował mnie tak, jak czaruje matkę dobry sen dziecka. I sen Albertyny był w istocie snem dziecka. Przebudzenie również tak naturalne, tak czule — zanim nawet spostrzegła się, gdzie jest — że czasami zadawałem sobie z przestrachem pytanie, czy ona, nim zamieszkała u mnie, przywykła nie sypiać sama i otwierając oczy, znajdować kogoś przy swoim boku. Ale jej dziecinny wdzięk przeważał. I znów jak matka byłem zachwycony, że się budzi zawsze taka wesoła. Po chwili odzyskiwała świadomość, znajdowała urocze i bezładne słówka, istny świergot. Niby przez kompensatę szyja jej, zazwyczaj podrzędna, teraz prawie za piękna, nabrała olbrzymiej ważności, którą oczy jej, zamknięte przez sen, straciły: jej oczy, moi stali partnerzy rozmowy, do których nie mogłem się już zwracać z chwilą opadnięcia powiek. Tak samo jak zamknięte oczy dają twarzy niewinną i poważną urodę, usuwając wszystko to, co aż nadto wyrażają spojrzenia, tak samo w słowach — znaczących, ale przerywanych milczeniem — jakie Albertyna znajdowała, budząc się, była czysta piękność, nie skalana co chwilę, jak rozmowa, gotowymi zwrotami, oklepankami, błędami. Zresztą kiedyś się decydowałem obudzić Albertynę, mogłem to uczynić bez obawy, wiedziałem, że jej przebudzenie nie miałoby związku ze spędzonym dopiero co przez nas wieczorem, ale wstałoby z jej snu, jak z nocy wstaje rano. Z chwilą gdy z uśmiechem rozchyliła powieki, poddawała mi usta: zanim jeszcze coś powiedziała, kosztowałem ich świeżości, kojącej jak świeżość ogrodu, cichego jeszcze przed wschodem słońca.

Nazajutrz po owym wieczorze, kiedy Albertyna powiedziała, że może pójdzie, a potem, że nie pójdzie do Verdurinów, obudziłem się wcześniej: jeszcze byłem na wpół uspiomy, kiedy radość moja oznajmiła mi, że nawiedził nas — w pełni zimy — dzień wiosenny. Na dworze popularne melodie subtelnie napisane na rozmaite instrumenty, od rogu sklejacza porcelany lub trąbki wyplatacza krzesel aż do fujarki koziarza, który w ten piękny dzień podobny był do sycylijskiego pasterza, lekko instrumentowały rano w „uwerturę na dzień świąteczny”. Słuch, ten rozkoszny zmysł, przynosi nam towarzystwo ulicy, odtwarzając wszystkie jej linie, rysując przesuwane kształty, ukazując nam ich kolor. Żelazne stopy piekarza, mleczarza, zapuszczane wieczorem na wszystkie możliwości kobiecego szczęścia, podnosiły się teraz niby lekkie dźwigi statku, który gotuje się odpłynąć i prując przezroczyste morze, pomknie po marzeniu młodych pracowników. Ten łoskot podnoszonej żaluzji byłby może w innej dzielnicy jedyną moją przyjemnością. Ale w tej cieszyło mnie sto innych odgłosów; nie chciałem, aby przydługi sen pozbawił mnie bodaj jednego. Czar starych arystokratycznych dzielnic polega na tym, że są równocześnie ludowe. Jak niegdyś różne rzemiosła gnieździły się koło katedr w pobliżu ich portalu (który zachował niekiedy nawet ich nazwę, np. portal katedry w Rouen zwie się Portalem Księgarzy, wystawiających koło niego, pod gołym niebem, swoje towary), tak i tutaj wszystkie rzemiosła — ale domokrażne — przeciągały koło szlachetnego pałacu Guermantes, przywołując chwilami na myśl dawną eklezjastyczną<sup>1039</sup> Francję. Bo apel ich, zwrócony do sąsiednich domków, nie miał — z rzadkimi wyjątkami — nic z piosenki. Różnił się od niej tak, jak ledwie zabarwione modulacjami *parlando*<sup>1040</sup> *Borysa Godunowa* lub *Peleasa*<sup>1041</sup>; ale z drugiej strony przypominał psalmodie<sup>1042</sup> księży w czasie nabożeństwa, którego te uliczne sceny są jedynie naiwnym, jarmarcznym, a jednak na wpół liturgicznym odpowiednikiem.

Nigdy nie znajdowałem w nich tyle przyjemności co od czasu, gdy Albertyna mieszkała ze mną; zdawały mi się niby radosny sygnał jej przebudzenia; wciągając mnie w życie ulicy, lepiej dawały mi czuć kojącą władzę drogiej obecności, tak stałej, jak tego pragnąłem. Niektóre wykrzykiwane przysmaki, których ja nie cierpiałem, lubiła Albertyna; po czym Franciszka posyłała po nie lokajczyka, może trochę upokorzonego, że się musi mieszać z plebem. Krzyki te, bardzo wyraźne w spokojnej dzielnicy (gdzie nie były już źródłem smutku dla Franciszki, a stały się źródłem słodyczy dla mnie), dochodziły mnie

<sup>1038</sup> *aliaż* (daw., z fr.) — stop metali; tu: domieszka. [przypis edytorski]

<sup>1039</sup> *eklezjastyczny* — związany z Kościołem, kościelny. [przypis edytorski]

<sup>1040</sup> *parlando* (wł., muz.) — rodzaj melodeklamacji, wykonanie utworu zbliżone do mowy z zachowaniem wysokości określonych w kompozycji dźwięków. [przypis edytorski]

<sup>1041</sup> *Borys Godunow*, *Peleas* — *Borys Godunow*: opera Modesta Musorgskiego z librettem Aleksandra Puszkina, powstała w latach 1868–1872; *Peleas i Melisanda*: operowy dramat liryczny Claude'a Debussy'ego z 1902 do własnego libretta wg dramatu Maurice'a Maeterlincka. [przypis edytorski]

<sup>1042</sup> *psalmodia* — śpiewanie i intonowanie psalmów. [przypis edytorski]

każdy ze swoją odmienną modulacją; recitatywy skandowane przez tych prostych ludzi tak, jakby były frazowane w tak popularnej muzyce *Borysa*, gdzie początkową intonację ledwo zmienia infleksja<sup>1043</sup> nuty pochylającej się ku innej — muzyka tłumy, raczej mowa niż muzyka. Było to: „Hej, hej, tutki, dwa sou<sup>1044</sup> za tutkę!”, sprawiające, że się rzucano do tutek z owymi okropnymi drobnymi mięczakami, które gdyby nie Albertyna, brzydziłyby mnie, nie mniej zresztą niż ślimaki, które wykrzykiwano o tej samej porze. Tu również przekupień przywodził na myśl ledwie że zabarwiony śpiewem recitatyw Musorgskiego, ale nie tylko to. Bo oznajmiwszy niemal *parlando*: „Ślimaki, świeże piękne ślimaki”, przekupień przechodził w zamglony smutek Maeterlincka, przełożony na muzykę Debussy’ego w jednym z owych bolesnych finałów, w których autor *Peleasa* zbliża się do Rameau<sup>1045</sup>: „Jeśli mam ulec, tobież przystało być moim zwycięzcą?”, i dodawał ze śpiewną melancholią: „Sześć sou za tuzin...”.

Zawsze mi było trudno pojąć, czemu te tak konkretne słowa były „westchnięte” na tonie tak rozbieżnym z treścią, tajemniczym jak sekret sprawiającym, że wszyscy mają smutne miny w starym pałacu, w który Melisanda<sup>1046</sup> nie zdołała wnieść radości; na tonie głębokim jak myśl starego Arkela, który stara się w najprostszych słowach zawrzeć całą mądrość i cały los. Ten same nuty, na których wznosi się z rosnącą słodyczą głos starego króla Allemonde lub głos Golauda, aby powiedzieć: „Nie wiadomo, co się tutaj dzieje; może się to wydawać dziwne, nie ma może bezcelowych zdarzeń” lub: „Nie trzeba się bać; to tylko biedne tajemnicze stworzonko, jak wszyscy...”, pozwalały handlarzowi ślimaków powtórzyć w mglistej kantylenie<sup>1047</sup>: „Sześć sou, sześć sou za tuzin...”. Ale ten metafizyczny lament nie miał czasu zamrzeć na krawędzi nieskończoności: przerywała go energiczna trąbka. Tym razem nie chodziło o rzeczy jadalne; libretto brzmiało: „Strzyże psy, trzebi koty, obcina uszy i ogony...”.

Niewątpliwie fantazja, dowcip każdego przekupnia lub przekupki wprowadzały często warianty w tekst wszystkich tych melodii, które słyszałem z łóżka. Mimo to uświęcona pauza dzieląca w połowie słowo, zwłaszcza kiedy się powtarzało dwa razy, nieuchronnie budziła wspomnienie starych kościołów. W wózek swoim zaprzężonym w oślicę, którą zatrzymywał przed każdym domem, aby wejść w podwórze, handlarz starzyzny, uzbrojony w bat, psalmodiował: „Ubrania, kupuję ubrania, ubra...a...nia”, z tą samą pauzą między dwiema ostatnimi zgłoskami ubrania, co gdyby intonował „*Per omnia saecula saeculo...rum*”<sup>1048</sup> lub „*Requiescat in pa...ce*”<sup>1049</sup>, mimo że nie wierzył zapewne w wiekiistość swoich ubrań, ani nie ofiarowywał ich jako całun na ostatni spoczynek. I tak samo, ponieważ od tej rannej godziny motywy zaczynały się krzyżować, handlarka jarzyn, popychając wózek, używała w swojej litanii gregoriańskiego podziękowania:

Jarzyna, jarzyna zielona,  
Piękne, duże karczochy,  
Kar...czochy...

mimo iż z pewnością nie wiedziała nic o antyfonariuszu<sup>1050</sup> i o siedmiu tonach, z których cztery symbolizują wiedzę *quadrivium*, a trzy *trivium*<sup>1051</sup>.

<sup>1043</sup> *infleksja* (z łac.) — załamywanie się. [przypis edytorski]

<sup>1044</sup> *sou* — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

<sup>1045</sup> *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1764) — kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych. [przypis edytorski]

<sup>1046</sup> *Melisanda, Arkel, Golaud* — postacie z opery *Peleas i Melisanda* Claude’a Debussy’ego, której akcja rozgrywa się mitycznym królestwie Allemonde w okresie wczesnego średniowiecza. [przypis edytorski]

<sup>1047</sup> *kantylena* (muz.) — rodzaj śpiewnej melodii, utrzymanej w łagodnym, lirycznym stylu. [przypis edytorski]

<sup>1048</sup> *Per omnia saecula saeculo...rum* (łac.) — Przez wszystkie wieki...ków. [przypis edytorski]

<sup>1049</sup> *Requiescat in pa...ce* (łac.) — Niech spoczywa w poko...ju. [przypis edytorski]

<sup>1050</sup> *antyfonariusz* a. *antyfonarz* — księga zawierająca zbiór *antyfon*, tj. krótkich, najczęściej jednozdaniowych, tekstów modlitewnych liturgii chrześcijańskiej, przeplatających hymny, psalmy lub litanie wykonywane naprzemiennie przez dwa chóry lub przez przewodnika i chór. [przypis edytorski]

<sup>1051</sup> *quadrivium* i *trivium* (łac.) — tradycyjne łacińskie nazwy grup dziedzin wiedzy obejmujących łącznie tzw. siedem sztuk wyzwolonych, stanowiących podstawę kształcenia w średniowiecznej Europie; na *trivium*, nuczane na poziomie niższym, składały się trzy przedmioty humanistyczne (gramatyka, retoryka i dialektyka), natomiast *quadrivium*, wykładane na poziomie wyższym, obejmowało cztery przedmioty matematyczne (arytmetyka, geometria, astronomia oraz muzyka). [przypis edytorski]

Dobrywając z fujarki, z kobzy melodie Południa, którego blask harmonizował z dziesięcią pogodą, człowiek w bluzie, w baskijskim berecie, trzymając w ręku bykowiec, przystawał pod domem. Był to koziarz z dwoma psami, przed nim stado kóz. Ponieważ przybywał z daleka, zjawiał się w naszej dzielnicy późno; i kobiety cisnęły się kubkami po mleko, które miało dać siłę ich malcom. Ale z pirenejskimi melodiami dobroczynnego pastucha mieszał się już dzwonek szlifierza, który krzyczał: „Noże, nożyczki, brzytwy”. Nie mógł z nim konkurować majster ostrzący piły; pozbawiony instrumentu, poprzestawał na wywoływaniu: „Kto ma piły do ostrzenia, ostrzę piły, ostrzę”, podczas gdy weselszy pobiela, wyliczywszy kociołki, garnki, wszystko, co pobiela, intonował refren: „Tam-tam-tam — pobiela — od dołu do góry — zatykam wszystkie dziury — dziury, dziury”; a małe Włoszeta, obnosząc czerwono malowane blaszane pudła, gdzie były oznaczone wygrywane i przegrywane numery i tarczając grzechotką, proponowały: „Panie, paniusie, zabawa — zabawa dla pań”.

Franciszka przyniosła „Figaro”. Jeden rzut oka pozwolił mi zdać sobie sprawę, że mój artykuł wciąż nie poszedł. Oznajmiła, że Albertyna pytała, czy może wejść; kazała na wszelki wypadek powiedzieć, że poniechała wizyty u Verdurinów i wybiera się, jak jej raździłem, na *matinée*<sup>1052</sup> do Trocadéro — to, co nazwano by dzisiaj, ale na mniejszą skalę, „galową popołudniówką”. Przedtem chce się konno przejechać z Anną. Teraz, kiedy wiedziałem, że Albertyna wyrzekła się intencji, może grzesznej, odwiedzenia pani Verdurin, oświadczyłem, śmiejąc się: „Niech przyjdzie” i pomyślałem, że może iść gdzie chce i że mi to jest obojętne. Wiedziałem, że pod wieczór, kiedy zapadnie zmierzch, będę zapewne innym człowiekiem, smutnym, przywiązującym do najmniejszych kroków Albertyny wagę, której o tej rannej godzinie i w tak piękny czas były pozbawione. Bo obojętności mojej towarzyszyła jasna świadomość przyczyny; towarzyszyła — ale nie zmieniała jej.

— Franciszka zapewniła mnie, że nie śpisz i że ci nie przeszkodzi — rzekła Albertyna, wchodząc. Że zaś, obok obawy przeziębienia mnie przez niewczesne otwarcie okna, największą obawą Albertyny było wejść do mnie, kiedy drzemał, dodała: — Mam nadzieję, że nie weszłam nie w porę. Bałam się, żebyś mi nie powiedział: Któryż hardy śmiertelnik szuka tutaj zgonu?

I rozśmiała się owym śmiechem, który mnie tak wzruszał. Odpowiedziałem, podejmując żart:  
Czyż dla ciebie ten rozkaz surowy wydano?

I z obawy, aby go kiedyś nie przekroczyła, dodałem: — Chociaż byłbym wściekły, gdybyś mnie obudziła.

— Wiem, wiem, nie bój się — rzekła Albertyna.

Dla złagodzenia dodałem, wciąż kontynuując scenę z *Estery* (podczas gdy na ulicy trwały wciąż krzyki, zupełnie zmaćcone naszą rozmową):

Jedynie w tobie widzę uroków tak dużo,  
że mnie czarują zawsze, a nigdy nie nużą,

(przy czym pomyślałem w duchu: „Owszem, nużą mnie często”). I przypominając sobie to, co Albertyna powiedziała w wilię<sup>1053</sup>, dziękując przesadnie, że się wyrzekła Verdurinów (po to, aby mnie innym razem tak samo usłuchała w tej czy innej sprawie), rzekłem:

— Albertyno, nie masz zaufania do mnie, który cię kocham, a masz je do tych, co cię nie kochają. — (Jakby to nie było naturalne strzec się tych, co nas kochają, jedynych mających interes w tym, aby nas okłamać dla dowiedzenia się czegoś, dla zapobieżenia czemuś!). I dodałem te kłamliwe słowa: — Nie wierzysz w gruncie, że cię kocham; to zabawne. W istocie, nie ubóstwiam cię.

Albertyna skłamała z kolei, powiadając, że ufa tylko mnie, a potem zapewniała mnie szczerze, że wie, iż ją kocham. Ale te słowa nie wykluczały przeświadczenia, że kłamię i że ją szpieguję. Przebacała mi to widocznie, tak jakby w tym widziała uprzykrzony skutek wielkiej miłości lub jakby sama bardziej się poczuwała do winy.

<sup>1052</sup>*matinée* (fr.) — tu: spotkanie, które odbywa się przed obiadem, po południu. [przypis edytorski]

<sup>1053</sup>*wilia* (daw.) a. *wigilia* — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie, przeddzień. [przypis edytorski]

— Proszę cię, kochanie — rzekłem — żadnych wołtyżów<sup>1054</sup>, jak kiedyś. Pomyśl, Albertyno, gdyby ci się zdarzył wypadek!

Nie życzyłem jej oczywiście nic złego. Ale cóż za radość, gdyby razem ze swoimi końmi wpadła na szczęśliwą myśl pojechania licha wie gdzie, gdzie się jej podoba, i gdyby już nigdy nie wróciła! Jakby to uprościło wszystko, gdyby zechciała żyć sobie szczęśliwie gdzie indziej; nie chciałbym nawet wiedzieć gdzie!

— Och, ja wiem — rzekła Albertyna — że ty byś mnie nie przeżył ani o dwa dni, że byś się zabił.

W ten sposób wymienialiśmy kłamiwe słowa. Ale prawda głębsza niż ta, którą byśmy sobie powiedzieli, gdybyśmy byli szczerzy, może czasami wyrazić się inną drogą niż droga szczerości.

— Czy ci nie przeszkadzają wszystkie te uliczne hałasy? — spytała. — Ja je ubóstwiam. Ale ty masz sen tak lekki!

Miałem, przeciwnie, czasem sen bardzo głęboki (wspominałem już o tym, ale wypadek, który nastąpi, każe mi przypomnieć tę okoliczność), zwłaszcza kiedy zasnął dopiero rano. Ponieważ taki sen był przeciętnie cztery razy bardziej krzepiący, wydaje się on śpiącemu cztery razy dłuższy, wówczas gdy był cztery razy krótszy. Wspaniała omyłka pomnożenia przez 16, która daje przebudzeniu tyle uroku i wnosi w nasze życie istną odnowę, podobną do owych wielkich zmian rytmu sprawiających w muzyce, że w *andante*<sup>1055</sup> ósemka trwa tak długo jak cała nuta w *prestissimo*<sup>1056</sup> — zmian nieznanymi w stanie jawy. Życie na jawie jest prawie zawsze jednakie — stąd rozczarowania podróży. Zdaje się wprawdzie, że marzenie senne wytwarza się z najgrubszego materiału życiowego, ale ta materia jest w nim przerobiona, ugnieciona, rozpostarta tak, że żadna z obowiązujących na jawie granic czasu nie przeszkadza jej wyciągnąć się do wysokości tak olbrzymich, że się jej nie poznaje. W pewne poranki, kiedy mi się zdarzyło to szczęście, kiedy gąbka snu starła z mojego mózgu znaki codziennych zajęć wypisane w nim niby na czarnej tablicy, trzeba mi było zbudzić do życia moją pamięć; wysiłkiem woli można się nauczyć na nowo tego, co amnezja snu lub apoplektycznego udaru pogrzyżała w zapomnieniu i co się odradza stopniowo, w miarę jak się oczy otwierają lub paraliż ustępuje. Przeżyłem w kilka minut tyle godzin, że zawoławszy Franciszkę i chcąc przemówić do niej językiem zgodnym z rzeczywistością i dostosowanym do godziny, musiałem wprawić w ruch wszystkie wewnętrzne hamulce, aby nie rzec: „I co, Franciszko, już piąta, a ja Franciszki nie widziałem od wczoraj po południu”. I aby zdławić swoje marzenia senne, na wspak im i samemu sobie, mówiłem bezwstydnie, zmuszając się do milczenia, coś wręcz przeciwnego: „Franciszko, już dziesiąta!”. Nie mówiłem nawet dziesiąta rano, ale po prostu dziesiąta, iżby ta niewiarygodna dziesiąta zabrzmiała najnaturalniej w świecie. Ale powiedzenie tych słów w miejsce tych, które nadal myślałem ledwie zbudzony ze snu, wymagało ode mnie wysiłku takiego, z jakim ktoś, wysiadając z idącego pociągu i biegnąc chwilę wzdłuż toru, stara się nie upaść. Biegnie chwilę, bo środowisko, które opuścił, było ożywione wielką chyżością w przeciwieństwie do bezwładnego gruntu, z którym stopy jego oswajają się z trudem.

Z tego, że świat snu nie jest światem jawy, nie wynika, aby świat jawy mniej był prawdziwy; przeciwnie. W świecie snu percepcje nasze są tak przeładowane, każda tak pogrubiona warstwą, która ją zdwaja, która ją oślepia bezużytecznie, że nie umiemy wręcz rozróżnić tego, co się dzieje w zamęcie przebudzenia; czy to Franciszka przyszła, czy też ja, znużony wołaniem, poszedłem do niej? Milczenie było w tej chwili jedynym sposobem zamaskowania się, jak w chwili, kiedy nas uwięzi sędzia znający okoliczności dotyczące nas, ale w które nas nie wtajemniczono.

Czy to Franciszka przyszła, czy ja ją zawołałem? Może po prostu Franciszka spała, a ja ją obudziłem? Co więcej, czy Franciszka nie mieści się w mojej piersi, ile że odrębność osób i wzajemny ich stosunek zaledwie że istnieją w tym ciemnym mroku, gdzie realność równie mało jest przejrzysta co w ciele jeżozwierza i gdzie percepcja niemal równa zeru może dać pojęcie o percepcji pewnych zwierząt? Zresztą jeżeli nawet promienne drobiny

<sup>1054</sup>wołtyż (daw.) — wołtyżerka, popisowa akrobatyczna jazda na koniu. [przypis edytorski]

<sup>1055</sup>andante (muz., wł.) — umiarkowanie wolne tempo utworu; także: utwór lub część w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>1056</sup>prestissimo (muz., wł.) — tempo w muzyce: bardzo szybko. [przypis edytorski]

rozsądku bujają w przejrzystym szaleństwie poprzedzającym owe zbyt ciężkie sny, jeżeli nazwiska Taine'a<sup>1057</sup>, George Eliot<sup>1058</sup> nie są tam nieznanne, niemniej świat jawy zachowuje tę wyższość, że go można co rano snuć dalej, nie można zaś co wieczór snuć dalej snu. Ale może istnieją inne światy, realniejsze niż świat jawy? A i tu widzieliśmy, że nawet ten świat jawy zmienia się od każdego przewrotu w sztuce, a co więcej zmienia się równocześnie stopień zdolności i kultury różniący artystę od ciemnego głupca.

I często jedna godzina snu za dużo jest atakiem paraliżu, po którym trzeba odzyskiwać władzę w członkach, uczyć się mówić. Wola nie osiągnęłaby tego. Za wiele się spało, nie istnieje się już. Obudzenie ledwie odczuwamy mechanicznie, bez świadomości, jak rura może odczuć zamknięcie kranu. Następuje po nim życie mniej aktywne niż życie meduzy, w którym równie dobrze uwierzyłoby się, że się wypłynęło z głębi morza lub wróciło z galer, gdyby się w ogóle mogło coś myśleć. Ale wówczas z wysokości niebios pochyła się bogini Mnemotechnia<sup>1059</sup> i w nawyku zażądania białej kawy podaje nam nadzieję zmartwychwstania. A i ten nagły dar pamięci nie zawsze jest tak prosty. Często w pierwszych minutach, w których się osuwamy ku przebudzeniu, mamy tuż koło siebie prawdę rozmaitych realności, w których skłonni jesteśmy wybierać niby w talii kart.

Jest piątek rano i wraca się ze spaceru albo jest pora herbaty nad morzem. Pojęcie snu i tego, że się leży w nocnej koszuli, jest często ostatnim, które się nam następuje.

Zmartwychwstanie nie przychodzi od razu; myślimy, żeśmy zadzwonili, nie zrobiliśmy tego, mieliśmy niedorzeczne słowa. Dopiero ruch przywraca myśl i kiedy się rzeczywiście nacisnęło dzwonek, można rzec powoli, ale wyraźnie: „Już dziesiąta, Franciszko, proszę kawę”. O cudzie! Franciszka nie mogła podejrzewać oceanu nierealności, który mnie opływał jeszcze całego i poprzez który zdolny byłem rzucić to dziwne pytanie. Odpowiadała w istocie: „Jest dziesięć po dziesiątej”. To mi dawało pozór rozsądku i pozwalało nie zdradzić dziwnych rozmów kołyszących mnie bez końca w dni, kiedy mnie nie oddzieliła od życia góra nicości. Wysiłkiem woli wracałem w rzeczywistość. Cieszyłem się jeszcze szczątkami snu, to znaczy jedynej inwencji, jedynej odnowy, jakie istnieją w sposobie opowiadania, ile że opowieści ze stanu jawy, choćby upiękzone przez literaturę, nie zawierają owych tajemniczych różnic będących źródłem piękna. Łatwo mówić o pięknie zrodzonym z opium<sup>1060</sup>. Ale dla człowieka nawykłego sypiać jedynie przy pomocy narkotyków, nieoczekiwana godzina naturalnego snu odsłoni poranny ogrom równie tajemniczego, a świeższego krajobrazu. Odmieniając godzinę, miejsce, w którym zasypiamy, sprowadzając sen sztucznie lub przeciwnie, wracając na jeden dzień do snu naturalnego — najdziwniejszego ze wszystkich dla kogoś, kto przywykł do środków nasennych — uzyskujemy w końcu odmiany snu tysiąc razy liczniejsze od odmian goździków i róż wyhodowanych przez ogrodnika. Ogrodnicy stwarzają kwiaty będące niby rozkosznym marzeniem, inne znów podobne do koszmarów. Kiedym zasypiał w pewien sposób, budziłem się, dygocąc, myśląc, że mam odrę, lub — rzecz o wiele bolesniejsza — że babka (o której nie myślałem już nigdy) gryzie się, że ja drwiłem z niej owego dnia w Balbec, kiedy myśląc, iż wnet umrze, chciała, żebym miał jej fotografię. Mimo iż nie spałem, czym prędzej chciałem biec, aby jej tłumaczyć, że mnie źle zrozumiała. Ale już rozgrzałem się, diagnoza odry odpadła, a babka była tak daleko, że myśl o niej nie ścisnęła mi serca. Czasem na te rozmaite stany waliła się nagle ciemność. Czulem lęk, zapuszczając się w czarną aleję, gdzie słyszał snujących się włóczędzów. Naraz wszczyła się sprzeczka między policjantem a jedną z dorożkarek, które bierze się z daleka za młodego stangreta. W ciemnościach nie widziałem jej na koźle, ale słyszałem głos, z głosu czulem ładną twarz i młode ciało. Szedłem ku niej w ciemności, aby zanim odjedzie, wsiąść do wehikułu. To było daleko. Szczęściem sprzeczka z policjantem przedłużała się. Dogoniłem pojazd, który jeszcze stał. Ta część alei była oświetlona, widać było woźnicę. Była to w istocie kobieta,

<sup>1057</sup> Taine, Hippolyte Adolphe (1828–1893) — francuski filozof, historyk, krytyk i teoretyk kultury; jeden z głównych przedstawicieli pozytywizmu. [przypis edytorski]

<sup>1058</sup> George Eliot (pseud.), właśc. Mary Ann Evans (1819–1880) — angielska pisarka należąca do czołowych twórców epoki wiktoriańskiej, autorka powieści cechujących się realizmem i przenikliwością psychologiczną. [przypis edytorski]

<sup>1059</sup> mnemotechnia (fr. *mnemotechnie*) — dziś popr.: mnemotechnika, sztuka zapamiętywania, ogólna nazwa sposobów ułatwiających zapamiętanie, przechowywanie i przypominanie sobie informacji. [przypis edytorski]

<sup>1060</sup> opium — wysuszony sok makówek, szeroko stosowany w XIX w. w Europie i USA jako substancja przeciwbólowa, uspokajająca i odurzająca. [przypis edytorski]

ale stara, duża i silna, z siwymi włosami wymykającymi się spod kaszkietu i z czerwoną, trędowną twarzą. Oddaliłem się, myśląc: „Czy to jest los młodości kobiet? Więc jeżeli nagle zapagniemy ujrzeć kobiety niegdyś spotkane, już są stare? Czy upagniona przez nas kobieta jest jak figura w teatrze, gdzie wskutek zasłabnięcia aktorki trzeba przekazać rolę nowej? Ale wówczas to już nie jest ta sama”.

Potem ogarniał mnie smutek. W ten sposób mamy we śnie liczne Litości, niby renesansowe piety<sup>1061</sup>, ale nie w marmurze — owszem, nietrwale. Ale mają swoją rację bytu, przypominają nam pewną fizjonomię rzeczy, tkliwszą, bardziej ludzką, której nazbyt jesteśmy skłonni zapominać w zimnym, czasami wrogim rozsądku jawy. I tak przypomniało mi się postanowienie uczynione w Balbec, aby zawsze być miłosiernym dla Franciszki. I bodaj przez cały ów ranek umiałbym się zmusić, aby się nie irytować jej klótniami z kamerdynierem, aby być łagodnym dla Franciszki, której świat tak mało okazał dobroci. Tylko przez ten ranek, a trzeba by sobie stworzyć kodeks nieco stalszy; jak ludy bowiem niedługo rządzą się czystym uczuciem, tak ludzie nie rządzą się wspomnieniem snów. Już ten sen zaczynał się ulatniać. Starając się go sobie przypomnieć, odmalować, ploszyłem go tym bardziej. Powieki nie zamykały już tak szczelnie moich oczu. Gdybym próbował odtworzyć swój sen, otworzyłyby się całkiem. Wciąż trzeba wybierać między zdrowiem i rozsądkiem a rozkoszami ducha. Zawsze miałem tę małoduszność, aby wybierać pierwsze. Zresztą niebezpieczna władza, której się wyrzekałem, była jeszcze niebezpieczniejsza, niż się mniema. Litość, marzenie nie ulatują same. Kiedy tak zmieniamy warunki, w jakich zasypiamy, nie tylko same sny pierzchają, ale ginie również na długie dni, czasem na lata, zdolność nie tylko snienia, ale zaśnięcia. Sen jest boski, ale niestały; lada co go ploszy. Lubi nawyki; stalsze od niego, zatrzymują go co wieczór w poświęconym miejscu, chronią go od wszelkiego wstrząsu; ale kiedy go przemieścimy, kiedy nie jest związany z miejscem, rozwiewa się jak mgła. Podobny jest do młodości i do miłości — nie sposób go już odnaleźć.

W tych rozmaitych snach — wciąż jak w muzyce — piękno rodziło się ze zwiększenia lub zmniejszenia interwału. Cieszyłem się nim, ale w zamian straciłem w tym śnie, mimo iż krótkim, sporo wołań, w których dochodzi do nas krążące życie rzemiosł i wiktuałów paryskich. Toteż zazwyczaj, aby nie tracić nic z tych wołań, siliłem się budzić wcześniej, nie przewidując niestety dramatu, który takie późne przebudzenia się oraz moje drakońsko-perskie prawa rasynowego Assuerusa miały na mnie niebawem sprowadzić.

Oprócz przyjemności, że Albertyna lubiła te krzyki i że niejako ja sam, mimo iż leżąc w łóżku, brałem udział w życiu ulicy, słyszałem w nich jak gdyby symbol atmosfery; symbol niebezpiecznego ruchliwego życia, w którym pozwalałem Albertynie krążyć jedynie pod moją opieką, w rozszerzonej strefie jej niewoli, przerywanej o dowolnej porze po to, aby ją ściągnąć z powrotem do mnie. Toteż najszczerzej mogłem odpowiedzieć Albertynie:

— Przeciwnie, lubię te krzyki, bo wiem, że ty je lubisz!

„Ostrygi, prosto z morza, ostrygi!”

— Och, ostrygi, taką miałam na nie ochotę!

Szczęściem Albertyna przez zmienność lub przez uległość zapomniała szybko swoich pragnień i zanim miałem czas jej powiedzieć, że znajdzie lepsze ostrygi u Pruniera, chciała kolejno wszystkiego, co oznajmiały wykrzykiwania handlarki ryb.

„Krewetki, dobre krewetki, mam raje<sup>1062</sup> żywe, żywe raje. Merlany<sup>1063</sup> do smażenia, do smażenia. Przyszły makrele, makrele świeże, świe-e-że. Makrele dla pań, piękne makrele. Mule<sup>1064</sup> świeże, dobre, mule, mule!”

Mimo woli, wołanie: „Przyszły makrele” przejęło mnie dreszczem. Makreła, makrot... Ale ponieważ ta reklama nie mogła się odnosić do naszego szofera, myślałem tylko o rybie (której nie cierpiałem) i niepokój mój nie trwał długo.

— Och, mule! — mówiła Albertyna. — Mam ochotę na mule.

<sup>1061</sup> *pieta* (z wł. *pietà*: miłosierdzie, litość) — w sztukach plastycznych: przedstawienie Matki Boskiej trzymającej na kolanach martwego Jezusa Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>1062</sup> *raja* — rodzaj płaszczki: spłaszczona ryba morska z wąskim ogonem, prowadząca przydenny tryb życia. [przypis edytorski]

<sup>1063</sup> *merlan* — witlinek, morska ryba podobna do dorsza. [przypis edytorski]

<sup>1064</sup> *mule* — zwyczajowa nazwa jadalnych małży (omułków). [przypis edytorski]

— Kochanie, to było dobre w Balbec, ale tutaj to nic nie warte! Zresztą, proszę cię, przypomnij sobie, co Cottard mówił o mulach.

Ale moja uwaga była tym bardziej niewczesna, że już następna przekupka oznajmiała coś, czego Cottard jeszcze surowiej zabraniał: „Sałata rzymska, sałata!”

Ale Albertyna darowała mi rzymską sałatę, byłem jej przyrzekł kupić za kilka dni produkt handlarki wykrzykującej: „Piękne szparagi arzantejskie, piękne szparagi”. Tajemniczy głos, po którym spodziewałoby się dziwniejszych propozycji, poddawał: „Beczki pobijać, beczki pobijać!”. Trzeba było się pogodzić z faktem, że chodzi tylko o beczki, bo ten wyraz był prawie całkowicie pokryty krzykiem: „Szyby, szkła-a-rz, szyby stłuczone, do szklarza, szkła-a-rza!” — rozziw gregoriański mniej mi jednak przypominający liturgię niż wołanie szmaciarza, bezwiednie powtarzającego owo nagłe złączenie melodii pośród modlitwy, dość częste w rytuale kościelnym: „*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere*”<sup>1065</sup> — powiada ksiądz, zrywając żywo „*dicere*”. Bez obrazy — jak w średniowieczu lud wprost na posadzce kościoła odgrywał farsy i *soties*<sup>1066</sup> — owo „*dicere*” przywodził na myśl szmaciarz, kiedy skandując wyrazy, wyrzekł ostatnią sylabę z przyspieszeniem godnym akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku<sup>1067</sup>: „Szmaty, żelastwo na sprzedaż” (wszystko to psalmodiowane powoli, zarówno jak sylaby, które następują, gdy dwie ostatnie kończyły się żywiej niż „*dicere*”), „królicze skórki”. — „Walencje, piękne Walencje, świeże pomarańcze”. Nawet skromne pory: „Piękne pory, kupujcie”; cebule: „osiem sou wianuszek, cebule, cebule”, rozpryskiwały się o moje uszy niby echo fal, w których, gdyby była wolna, Albertyna mogłaby się zgubić, i przybierały słodycz jakiegoś: „*Suave mari magno*”<sup>1068</sup>. „Marchewka, marchewka, dwa sou za pęczek”.

— Och! — wykrzyknęła Albertyna — kapusta, marchewka, pomarańcze! Wszystko chcę! Powiedz Franciszce, żeby to kupiła. Przyrządzi nam marchewkę ze śmietanką. To będzie takie milusie, jeść to wszystko we dwoje, wszystkie te wywoływania wcielić w dobre śniadanko. Och, proszę cię, powiedz lepiej Franciszce, niech usmaży raje na rumianym maśle. To takie dobre.

— Kochanie, już się stało, ale nie siedź już przy oknie, inaczej naprzesz się wszystkim, co obnoszą przekupki.

— Już, już, idę, ale odtąd nie chcę już na obiad nic, tylko to, co będziemy słysze-  
li. To takie zabawne. Pomyśleć, że jeszcze trzeba czekać dwa miesiące, nim usłyszymy: „Groszek zielony, słodki, groszek, groszek zielony”. Jak to ładnie powiedziane: „słodki groszek”, wiesz, że ja lubię taki delikatny, delikatny groszek, skąpany w winegrecie; nie ma się uczucia, że się je, takie to świeże jak rosa poranna. Och, albo te śmietankowe serduszka, to jeszcze bardzo daleko: „Dobre serki śmietankowe, śmietankowe serki dobre”. A winogrona z Fontainebleau: „Wino, wino, winogrona”.

A ja myślałem że zgrozą o czasie, który trzeba mi będzie wytrwać z Albertyną aż do pory winogron!

— Słuchaj, powiadam ci, że chcę już jeść tylko to, co usłyszymy, ale robię oczywiście wyjątki. Toteż zastanawiam się, czyby nie zająć do Rebatteta zamówić lody dla nas. Powiesz mi, że to jeszcze nie pora, ale mam taką ochotę!

Wstrząsnęło mną nazwisko „Rebattet”, tym niezawodniej podejrzanego dla mnie z racji tych słów: „zastanawiam się”. Był to dzień, w którym Verdurinowie przyjmowali, od czasu zaś jak Swann nauczył ich, że Rebattet to jest najlepsza cukiernia, tam zamawiali lody i ptifury<sup>1069</sup>.

<sup>1065</sup>*Praeceptis salutaribus moniti et divina institutione formati audemus dicere* (łac.) — formuła mszalna poprzedzająca modlitwę *Ojcze nasz*, we współczesnej wersji polskiej: „Wezwani zbawiennym nakazem i oświeceni pouczeniem Bożym ośmielamy się mówić”. [przypis edytorski]

<sup>1066</sup>*sotie* (Im: *soties*) — odmiana francuskiej średniowiecznej farsy ludowej, wykonywanej przez zawodowych błaznów, wysławiającej stosunki społeczne i obyczajowe. [przypis edytorski]

<sup>1067</sup>*akcentu uświęconego przez wielkiego papieża z VII wieku* — papieżowi Grzegorzowi I Wielkiemu, łac. *Gregorius Magnus* (ok. 540–604) tradycja przypisuje uporządkowanie i usystematyzowanie śpiewu liturgicznego, znanego później od jego imienia jako chorał gregoriański. [przypis edytorski]

<sup>1068</sup>*Suave mari magno* (łac.) — „Miło wielkie morze” (wzburzone wichrem obserwować z brzegu, patrząc na trudy żeglarza), cytat z poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy* (*De rerum natura*) II, 1–2. [przypis edytorski]

<sup>1069</sup>*ptifury* (z fr.) — małe ciasteczka deserowe, serwowane do kawy a. herbaty. [przypis edytorski]



— Nie mam nic przeciwko lodom, Albertynko droga, ale pozwól, żebym ja sam zamówił, nie wiem jeszcze, czy to będzie Poiré-Blanche, Rebattet, Ritz; słowem, zobaczę.

— Więc ty wychodzisz? — rzekła nieufnie. (Twierdziła zawsze, że byłaby zachwycona, gdybym więcej wychodził, ale kiedy jakieś moje odezwanie się mogło zwiastować, że nie zostanę w domu, niespokojna mina Albertyny pozwoliła wnosić, iż radość, jaką bym jej rzekomo sprawił, wychodząc jak najczęściej, nie była może zbyt szczerą).

— Może wyjdę, może nie, wiesz, że nigdy nie robię planów. W każdym razie lody to nie jest coś, co obwołują, co obnoszą po ulicy; skąd ci przyszła na nie ochota?

Odpowiedź Albertyny dowiodła mi, ile inteligencji i utajonego smaku rozwinęło się w niej nagle od czasu Balbec. Twierdziła, że zawdzięcza ten dobór słów jedynie mojemu wpływowi, mieszkaniu ze mną, jednakże ja bym tego nigdy nie powiedział, tak jakby mi wyższa siła zabroniła używać kiedykolwiek w rozmowie zwrotów literackich. Może przyszłość Albertyny miała być inna, a moja inna. Miałem niemal przecucie tego, widząc, jak ona się sili używać w mowie obrazów tak „książkowych”, zastrzeżonych, wedle mojego poczucia, na inny użytek, świętszy i jeszcze mi nieznany. Mimo wszystko bardzo mnie to wzruszyło, bo myślałem: „To pewne, że nie powiedziałbym tak jak ona, ale jednak beze mnie nie mówiła by w ten sposób, uległa zatem głęboko mojemu wpływowi, nie może tedy mnie nie kochać, jest moim dziełem”. Mówiła tak:

— W tych wiktuałach wykrzykiwanych na ulicy lubię zwłaszcza to, że coś słyszanego niby fraza muzyczna odmienia przy stole charakter i apeluje do mojego podniebienia. Co się tyczy lodów, mam nadzieję, że je zamówisz w owych niemodnych formach, mających wszystkie możebne kształty architektury: kiedy jem te świątynie, kościoły, obeliski, skały, zawsze oglądam je wprzód niby malowniczą geografę, a potem zmieniam jej malinowe lub waniliowe budowle w chłód na swoim podniebieniu. — Uważałem, że to jest trochę za dobrze powiedziane, ale Albertyna uczyła, iż ja uważam, że to jest dobrze powiedziane, i ciągnęła dalej, zatrzymując się na chwilę przy udatnym porównaniu, aby się wreszcie rozśmiać swoim pięknym śmiechem, który mi był tak okrutny, bo tak rozkoszny. — Mój Boże, boję się, że u Ritza znajdziesz „kolumny Vendôme”<sup>1070</sup> z lodów czekoladowych lub malinowych; w takim razie trzeba by ich więcej, aby to wyglądało na kolumny wotywno lub na słupy wzniesione w jakiejś alei na chwałę Chłodu. Robią tam także malinowe obeliski, które będą sterczały w pałacej pustyni mego pragnienia; stopię ich różowy granit w mojej paszczy, którą orzeźwią niczym oaza — i tu buchnął głęboki śmiech, czy to z satysfakcji, że się tak pięknie wysławia, czy przez drwiny z samej siebie, że się posługuje tak konsekwentnym obrazowaniem, czy niestety z fizycznej rozkoszy, że smakuje coś tak dobrego, świeżego, dającego jej jakby namiastkę rozkoszy. — Te lodowate cyple od Ritza — ciągnęła — wyglądają czasem niby jakieś Monte Rosa<sup>1071</sup>... a nawet przy cytrynowych wolę, żeby nie były monumentalne, raczej nieregularne, urwiste jak góra u Elstira. I nie powinny być zbyt białe, ale trochę żółtawe z tym elstirskim odcieniem brudnego i bladego śniegu. Choćby nie było ich zbyt dużo, pół porcji, jeżeli chcesz, te cytrynowe lody to są i tak góry sprowadzone do maleńkiej skali, ale wyobraźnia przywraca proporcje, jak dla tych japońskich karłowatych drzewek, w których czuje się i tak, że to są cedry, dęby, jabłuszniki, tak iż posadziwszy je w skrzynie w twoim pokoju, miałabym olbrzymi las schodzący ku rzece, gdzie by się zgubiły małe dzieci. Tak samo u stóp mojej porcji żółtawych cytrynowych lodów dostrzegam wybornie pocztylionów, podróżnych, karetki pocztowe, na które język mój podejmuje się staczać lodowe lawiny, mające je pochłonać — okrutna rozkosz, z jaką to powiedziała, podnieciła moją zazdrość. — Tak samo — dodała — jak podejmuję się tymi wargami zniszczyć, filar po filarze, wenecki kościół z truskawkowego porfiru i zwalić na wiernych to, co ocaleje. Tak, wszystkie te budowle przejdą ze swego kamiennego placu do moich wnętrzności, gdzie ich topniejący chłód już drga. Ale wiesz, nawet bez lodów, nic tak nie podnieca i nie budzi pragnienia, jak anonse jakichś cieplic. W Montjouvain u panny Vinteuil nie było w pobliżu dobrych lodów, ale odbywałyśmy w ogrodzie podróż dokoła Francji, pijąc co dzień inną wodę gazową.

<sup>1070</sup>kolumna Vendôme — pomnik w formie kolumny wzniesiony na Place Vendôme w Paryżu na rozkaz Napoleona I dla upamiętnienia bitwy pod Austerlitz. [przypis edytorski]

<sup>1071</sup>Monte Rosa — masyw górski w Alpach Pennińskich, na pograniczu włosko-szwajcarskim, drugi co do wysokości w Alpach; jego nazwa pochodzi od regionalnego słowa *rouése* oznaczającego lodowiec. [przypis edytorski]

Na przykład Vichy, kiedy się ją nalewa, wznosi się z dna białym obłokiem, niksącym i rozplywającym się, gdy się nie pije dość szybko... — Ale słyszeć w ustach Albertyny o Montjouvain było mi zbyt ciężko; przerwałem jej. — Nudzę cię kochanie, no, bądź zdrów...

Co za zmiana od czasu Balbec! Wzywam samego Elstira, czy zdołałby odgadnąć w Albertynie te bogactwa poezji, mimo iż mniej osobliwej i mniej osobistej niż na przykład u Celesty Albaret. Nigdy Albertyna nie zdobyłaby się na styl Celesty; ale miłość, nawet kiedy się na pozór kończy, jest stronnicza. Wołałem malowniczą geografię sorbetów, której dość łatwy wdzięk zdawał mi się racją do kochania Albertyny oraz dowodem, że mam nad nią władzę, że ona mnie kocha.

Kiedy Albertyna wyszła wreszcie, uczułem, jak męcząca była dla mnie ta ustawiczna obecność, niesyta ruchu i życia. Mąciła swoim niepokojem mój sen, przyprawiała mnie o ciągłe przeziębienie, zostawiając otwarte drzwi, kazała mi rozwijać za każdym razem chytrych Szeherazady<sup>1072</sup>, aby usprawiedliwić to, że jej nie towarzyszę (nie wydając się mimo to zbyt chorym), a z drugiej strony, aby jej narzucić jakieś towarzystwo. Taką pomysłowością perska opowiadaczka bajek opóźniła swoją śmierć, ale ja niestety przyspieszałem swoją. Są w życiu sytuacje, które nie wszystkie rodzą się, jak moja, z zazdrości i ze słabego zdrowia, niepozwalającego dzielić życia czynnej i młodej istoty, ale w których i tak problem dalszej wspólnej egzystencji lub powrotu do dawniejszego oddzielnego życia następuje w sposób niemal lekarski: któremu z dwóch rodzajów spoczynku trzeba zrobić ofiarę (bądź nadal znosząc codzienne przemęczenie, bądź wracając do mąk rozłąki) — spoczynkowi mózgu czy serca?

Byłem w każdym razie bardzo rad, że Anna towarzyszy Albertynie do Trocadéro, bo świeże, bardzo drobne zresztą wydarzenia sprawiały, iż oczywiście wciąż przy tej samej mojej wierze w uczciwość szofera, czujność jego lub bodaj przenikliwość nie wydawały mi się równie zadowalające jak dawniej. Niedawno posłałem z nim Albertynę samą do Wersalu; powiedziała, że jadła śniadanie w „Réservoirs”, szofer natomiast wspomniał o Vatelu. W dniu, kiedy spostrzegłem tę sprzeczność, znalazłem jakiś pretekst, aby — podczas gdy się Albertyna ubierała — pomówić z szoferem (zawsze tym samym, znanym nam z Balbec).

— Wspominał pan, żeście jedli śniadanie u Vatela, a panna Albertyna mówi o „Réservoirs”. Jak to rozumieć?

Szofer odparł:

— Powiedziałem, że jadłem u Vatela, ale nie mogę wiedzieć, gdzie panienka jadła. Opuściła mnie, przybywszy do Wersalu, aby wziąć fiakra; mówi, że woli tak, kiedy nie chodzi o pośpiech.

Wściekałem się już na tę myśl, że Albertyna została sama; ale ostatecznie tylko tyle, ile trzeba, aby zjeść śniadanie.

— Mógł pan przecie — rzekłem pojednawczo, bo nie chciałem okazać wprost, że każę pilnować Albertyny, co byłoby upokarzające dla mnie, i to podwójnie, bo znaczyłoby, że się kryje przede mną — mógł pan przecie zjeść śniadanie, nie mówię z panienką, ale w tej samej restauracji.

— Kiedy panienka zamówiła mnie dopiero na szóstą na Place d'Armes. Nie kazała po siebie zajechać po śniadaniu.

— A! — rzekłem, starając się pokryć przygnębienie. I wróciłem na górę. Zatem więcej niż siedem godzin Albertyna była sama, swobodna. Wiedziałem co prawda, że fiaker nie był jedynie pretekstem, aby się pozbyć nadzoru szofera. W mieście Albertyna wołała jeździć fiakrem, mówiła, że lepszy widok, że cieplej. Bądź jak bądź, spędziła siedem godzin, o których nie dowiem się nigdy nic. I nie śmiałem myśleć o sposobie, w jaki musiała ich użyć. Uważałem, że szofer był bardzo nieogłędny, ale odtąd ufność moja w niego stała się zupełna. Bo gdyby był bodaj trochę w „sitwie” z Albertyną, nie przyznałby się nigdy, że jej zostawił swobodę od jedenastej rano do szóstej wieczór. Mogło być jedno tylko wytłumaczenie tych zwierzeń szofera, ale niedorzeczne. Mianowicie, że jakaś sprzeczka między nim a Albertyną obudziła w nim chęć pokazania jej — za pomocą tej drobnej

<sup>1072</sup>Szeherazada — bohaterka *Księgi tysiąca i jednej nocy*, żona sultana, która co noc opowiadała mężowi kolejną historię, przerywając opowieść w najciekawszym momencie, aby odwlec niezasłużoną karę śmierci. [przypis edytorski]

rewelacji — że potrafi mówić i że po tym łagodnym ostrzeżeniu, o ile nie będzie tańczyła tak, jak on zagra, potrafi jej dać szkołę. Ale to był absurd; trzeba by najpierw przyjąć jakąś nieistniejącą zwadę między nim a Albertyną, a następnie zrobić szantażystę z tego pięknego szofera, który zawsze był taki uprzejmy i tak na miejscu. W dwa dni później przekonałem się zresztą, że umie czuć nad Albertyną dyskretnie i inteligentnie, bardziej niż przypuszczałem przez chwilę w szale podejrzeń. Bo zdoławszy go odciągnąć na stronę i nawiązać do owego epizodu w Wersalu, rzekłem przyjaźnie i swobodnie:

— Pańskie zachowanie się w Wersalu, tak jak mi pan wszystko opowiedział przedwczoraj, było idealne; był pan bez zarzutu, jak zawsze. Ale coś panu powiem, zresztą bez znaczenia. Otóż od czasu jak pani Bontemps powierzyła mi siostrzenicę, czuję się tak odpowiedzialny, tak boję się wypadków, tak sobie wyrzucam, że jej nie towarzyszę, iż wolę, żeby pan wszędzie sam woził Albertynę, pan taki pewny, tak wytrawny, z którym nic się nie może zdarzyć. W ten sposób o nic się nie boję.

Uroczy apostołski szofer uśmiechnął się subtelnie, z ręką spoczywającą na kierownicy w kształcie krzyża. Potem (wypędzając z mojego serca niepokój, którego miejsce zajęła natychmiast radość), rzekł coś, co mnie natchnęło ochotą rzucenia mu się na szyję.

— Niech się pan nie obawia. Nie może się panience nic zdarzyć; kiedy nie siedzi w moim aucie, oko moje biegnie za nią wszędzie. W Wersalu, nic nie pokazując po sobie, zwiedziłem miasto, aby tak rzec, razem z panienką. Z „Réservoirs” udała się do pałacu, z pałacu do Trianon<sup>1073</sup>, a ja wciąż jechałem za nią, niby to nie widząc, a co lepsze, że ona mnie nie widziała. Och, gdyby nawet widziała, nie byłoby nieszczęścia. To takie naturalne, że mając cały dzień przed sobą, a nic do roboty, zwiedzam także pałac. Tym bardziej że panienka musiała zauważyć, że ja mam oczytanie i że się interesuję starożytnościami. — Była to prawda, zdziwiłbym się nawet, gdybym wiedział, że on jest w przyjaźni z Morelem, tak dalece przewyższał skrzypka finezją i smakiem. — Ale koniec końców, nie widziała mnie.

— Musiała zresztą spotkać jakieś przyjaciółki, ma ich kilka w Wersalu.

— Nie, cały czas była sama.

— Musiano jej się przyglądać w takim razie, taka efektowna panna, i sama.

— Juścić, że patrzą na nią, ale ona jakby nic nie wiedziała o tym; cały czas wypatruje oczy w przewodniku, a potem na obrazy.

Opowiadanie szofera wydawało mi się tym ściślejsze, że w istocie pocztówki, które Albertyna przesłała mi owego dnia z Wersalu, przedstawiały jedną pałac, a druga Trianon. Bacność, z jaką sympatyczny szofer śledził każdy jej krok, wzruszyła mnie bardzo. Jak mógłbym przypuszczać, że to sprostowanie — w formie obszernego postscriptum<sup>1074</sup> do przedwczorajszych zwierzeń — wynikało stąd, że w ciągu tych dwóch dni Albertyna, zaniepokojona niedyskrecją szofera, skapitulowała i pogodziła się z nim. To mi nie przyszło nawet na myśl. Faktem jest, że opowiadanie szofera, niweczając wszelką obawę, iż Albertyna mogła mnie zdradzić, ostudziło mnie tym samym w stosunku do niej i zmniejszyło moje zainteresowanie jej dniem w Wersalu. Ale sądzę, że wyjaśnienia szofera, który oczyszczając Albertynę, uczynił mi ją tym nudniejszą, nie wystarczyłyby może, aby mnie tak szybko uspokoić. Dwa przyszyki, które przez kilka dni Albertyna miała na czole, może lepiej jeszcze zdołały zmienić moje serdeczne uczucia.

W końcu uczucia te odwróciły się od niej jeszcze skuteczniej (tak dalece, że przypomniałem sobie o istnieniu Albertyny jedynie wtedy, kiedy ją widziałem) pod wpływem osobliwego zwierzenia, jakie mi uczyniła pokojówka Gilberty, spotkana przypadkiem. Dowiedziałem się, że kiedyś bywał u Gilberty co dzień, Gilberta kochała się w pewnym młodym człowieku, z którym widywała się o wiele częściej niż ze mną. Podejrzywałem to przez chwilę wówczas i nawet brałem na spytki tę pokojówkę. Ponieważ wiedziała, że się kocham w Gilbertcie, zaprzeczyła wtedy; przysięgała, że nigdy panna Swann nie widuje tego młodego człowieka. Ale teraz, wiedząc, że moja miłość wygasła już od tak dawna, że od lat zostawiłem wszystkie listy Gilberty bez odpowiedzi — a może i dlatego, że nie była już w służbie u niej — sama z siebie opowiedziała mi obszernie epizod, którego nie znałem. To się jej wydawało całkiem naturalne. Sądziłem, przypominając sobie jej ówczesne

<sup>1073</sup> *Trianon* — dawna wioska na przedmieściach Paryża, zamieniona na część parku wersalskiego, w której znajdują się dwa pałace: *Petit Trianon* (Mały Trianon) oraz *Grand Trianon* (Duży Trianon). [przypis edytorski]

<sup>1074</sup> *postscriptum* (łac.) — dopisek do listu. [przypis edytorski]

zaklęcia, że nie była w tajemnicy. Ależ tak, to ona sama, z rozkazu pani Swann, biegła uprzedzić młodego człowieka, z chwilą gdy ta, którą kochałem, była sama. Którą kochałem wówczas... Ale zastanawiałem się, czy moja ówczesna miłość jest już tak martwa, jak mniemałem, bo to opowiadanie było mi przykre. Ponieważ nie sądzę, aby zazdrość mogła zbudzić miłość umarłą, przypuszczałem, że moje smutne wrażenie wynikało, przynajmniej w części, ze zranionej miłości własnej, wiele bowiem osób, których nie lubiłem i które w tej epoce, a nawet trochę później — bardzo się to zmieniło od owego czasu — zachowywały się w stosunku do mnie wzgardliwie, wiedziało doskonale, że Gilberta robiła ze mnie dudka<sup>1075</sup>. I to mi nawet kazało zastanawiać się wstecz, czy w mojej miłości do Gilberty nie grała roli miłość własna, skoro tak cierpiałem obecnie, widząc, że wszystkie tkliwe chwile, które mi dawały tyle szczęścia, były w oczach niesympatycznych dla mnie ludzi prostą komedią ze strony Gilberty. W każdym razie, czy to była miłość czy ambicja, Gilberta była prawie umarła we mnie, ale nie całkiem, i ta przykreść tym bardziej nie pozwoliła mi się zbyt troszczyć o Albertynę, zajmującą tak mało miejsca w moim sercu.

Mimo to — aby wrócić do niej (po tak długim nawiasie) i do jej podejrzanego spaceru — odczuwałem pewną przykreść za każdym razem, kiedy przy porządkowaniu papierów oczy moje padały na pocztówki z Wersalu. Zatem można mieć serce równocześnie rozdarte dwiema zazdrościami krzyżującymi się z sobą, każdą w stosunku do innej osoby? I przyszło mi na myśl, że gdyby szofer nie był tak porządnym człowiekiem, zgodność jego drugiej wersji z pocztówkami Albertyny niewiele by znaczyła, bo cóż się wysyła z Wersalu, jeśli nie pałac i nie Trianon, o ile pocztówek nie wybierał esteta zakochany w jakimś posągu lub głupiec, wybierający jako „widok” stację konnego tramwaju lub dworzec kolei. A i to niesłusznie mówię „głupiec”, bo takie pocztówki nie zawsze kupuje jakiś głupiec, ot na chybił trafił, jako dokument bytności w Wersalu. Przez dwa lata ludzie inteligentni, artyści uważali, że Sienna, Wenecja, Grenada to jest piła, i mówili o najlichszym omnibusie<sup>1076</sup>, o lada wagonie: „O, to jest piękne!”. Potem ten gust minął jak inne. Nie wiem nawet, czy nie wrócono do pojęcia „świętokradztwa, jakim jest niszczenie szlachealnych zabytków przeszłości”. W każdym razie, wagon pierwszej klasy przestał być uważany *a priori* za coś piękniejszego od św. Marka<sup>1077</sup> w Wenecji. Mówiono wprawdzie: „W tym jest życie, oglądać się wstecz to jest rzecz sztuczna”; ale nie wyciągano z tego zdecydowanych wniosków.

Na wszelki wypadek, darząc pełnym zaufaniem szofera i chcąc, by Albertyna nie mogła go posiać w drodze (przy czym on nie ważyłby się odmówić, aby nie uchodzić za szpiega), nie pozwalałem jej już jeździć na spacer inaczej niż pod opieką Anny, podczas gdy przez jakiś czas sam szofer mi wystarczał. Pozwoliłem jej nawet owego czasu (czego bym się nie odważył zrobić później) wybrać się na trzy dni samej z szoferem do Balbec, tak bardzo miała ochotę odbyć tę drogę na samym podwoziu, z maksymalną szybkością. Trzy dni, przez które byłem bardzo spokojny, mimo iż deszcz pocztówek, które mi przesyłała, doszedł mnie, z powodu fatalnego funkcjonowania poczt bretońskich (dobrych w lecie, ale widocznie kulejących w zimie), dopiero w tydzień po powrocie Albertyny i szofera, tak wytrzymałych, że jeszcze rano po powrocie odbyli, jakby nigdy nic, codzienny spacer.

Byłem zachwycony, że Albertyna idzie dziś do Trocadéro na ten „galowy” poranek, a zwłaszcza uspokojony tym, że towarzyszy jej Anna.

Porzucając te myśli teraz, kiedy Albertyna wyszła, stanąłem chwilę w oknie. Zrazu była cisza, w której gwizdek przekupnia flaków i trąbka tramwajowa wstrząsnęły powietrze w różnych oktawach, niby ślepy stroiciel fortepianu. Stopniowo mogłem rozróżnić krzyżujące się motywy, do których dołączały się nowe. Był i nowy gwizdek, sygnał jakiegoś przekupnia (nigdy nie zgadłem, co on sprzedawał), gwizdek ściśle podobny do gwizdka tramwaju, że zaś nie unosiła go szybkość, zdawało się, że to jest jakiś jeden tramwaj nieobdarzony ruchem lub wykolejony, unieruchomiony, krzyczący raz po raz

<sup>1075</sup>dudek (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

<sup>1076</sup>omnibus (łac. dosł.: dla wszystkich) — dawny środek komunikacji (XVII–XIX w.), duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, kursujący w miastach lub między miastami. [przypis edytorski]

<sup>1077</sup>św. Marek w Wenecji — plac św. Marka ze znajdującą się przy nim bazyliką św. Marka i będącą symbolem miasta dzwonnica św. Marka (*Campanile di San Marco*), najbardziej znane miejsce Wenecji, otoczone cennymi zabytkami architektury. [przypis edytorski]

niby zwierzę, które umiera. I miałem wrażenie, że gdybym miał kiedyś opuścić tę arystokratyczną dzielnicę — o ile bym jej nie zamienił na całkiem ludową — ulice i bulwary w centrum (gdzie handel owoców, ryb itd., skupione w wielkich sklepach spożywczych, czyniły czymś zbędnym wywoływania przekupniów, których by się zresztą nie słyszało) zdawałyby mi się bardziej martwe, niemieszkalne, odarte, odcedzone ze wszystkich tych litanii drobnych przemysłów i wędrownych traktierni<sup>1078</sup>, pozbawione orkiestry czarującej mnie od rana.

Przechodziła trotuarem kobieta niezbyt elegancka (lub zeszpecona modą), zbyt jasna w swoim sakpalcie<sup>1079</sup> z koziej sierści; ale nie, to nie była kobieta, to był szofer, który opatulony w kozią skórę szedł do garażu. Wyrwawszy się z wielkich hoteli, skrzydlaci strzelcy, mieniący się barwami, co tchu pędzili na rowerach ku dworcom, aby złapać podróżnych przybyłych rannymi pociągami. Chrypliwe skrzypce znaczyły czasem przejazd samochodu, a czasem to, że nie dość nałalem wody do elektrycznego imbryka. W pełni symfonii detonowała jakaś niemodna melodia: luzując sprzedawczynię cukierków, która zazwyczaj akompaniowała sobie na grzechotce, handlarz zabawek, do którego trąbki przymocowany był pajac fikający na wszystkie strony, obnosił inne pajace i nie troszcząc się o rytualny zaśpiew Grzegorza Wielkiego, o zreformowaną kadencję<sup>1080</sup> Palestriny<sup>1081</sup> i liryczną frazę współczesną, intonował pełnym głosem, niby zapóźniony zwolennik czystej melodii: „Chodźcie tatusie, chodźcie mamusie, ucieszcie wasze dzieci, patrzcie, jak leci, jeden drugi trzeci. Tra-la-la-la. Tra-la-la-laire, tra-lala-la-la-la. Dalej, dzieci, tutaj!”. Małe Włoszeta w beretach nie próbowały walczyć z tą *aria vivace*<sup>1082</sup> i w milczeniu ofiarowały swoje statuetki. Ale nagle piszczałka zmuszała do odwrotu handlarza zabawek, przy czym śpiewał coraz mętniej, mimo że *presto*<sup>1083</sup>: „Chodźcie tatusie, chodźcie mamusie”. Czy owa piszczałka to był jeden z dragonów, których słyszałem co rano w Doncières? Nie, bo potem następowały słowa: „Naprawiam fajans, porcelanę. Naprawiam szkło, marmur, kryształ, kość słoniową i starożytności. Naprawiam!” U rzeźnika, gdzie na lewo lśniła aureola słońca, a na prawo wisiał cały wół, czeladnik rzeźnicki, bardzo wysoki i szczupły, z włosami blond, z szyją wychylającą się z błękitnego kołnierza, układał z zawrotną szybkością i zbożną sumiennością po jednej stronie wspaniałe filety wołowe, po drugiej zrazówkę najgorszej jakości, i kładł je na lśniących szalach uwieńczonych krzyżem, z którego spływały zgrabne łańcuszki. Mimo iż później rozkładał już tylko na wystawie nerki, połówce, rozbratle, wyglądał w istocie raczej na pięknego anioła, który będzie w Dniu Sądu skutecznie w usługach Boga podział dobrych i złych wedle jakości oraz wagi dusz. I na nowo wzbijała się ostra i cienka piszczałka, zwiastując już nie zniszczenie, którego się bała Franciszka, patrząc na defiladę pułku kawalerii, ale „reparacje”, oznajmiane przez naiwnego lub jowialnego antykwarza, który w każdym razie bardzo eklektyczny<sup>1084</sup>, daleki od specjalizacji, obejmował swoją sztuką najróżniejsze materiały. Piekareczki spieszenie ładowały do koszyków długie bulki chleba przeznaczone na jakieś „proszone śniadanie”, a mleczarki wieszały żywo u haczyków bańki mleka. Czy nasycony tęsknotą obraz tych dziewczątek mogłem uważać za bardzo wierny? Czy nie byłby inny, gdybym mógł utrzymać nieruchomo przez kilka chwil przy sobie jedną z istot, które z wysokości okna widziałem jedynie w sklepie lub pomykające ulicą? Aby oszacować stratę, której wrażenie dawała mi moja klauzura, to znaczy bogactwo, jakie mi nastęczał dzień, trzeba by mi pochwycić na rozległym i żywym fryzie jakąś dziewczuszkę niosącą bieliznę lub mleko, przenieść ją, niby sylwetę z ruchomej dekoracji, w ramę moich drzwi i przyglądać się jej długo, nie bez uzyskania od niej jakiejś informacji, która by mi pozwoliła odnaleźć ją kiedyś; owej fiszki rozpoznawczej, którą ornitolog lub ichtiolog

<sup>1078</sup>traktiernia (daw.) — jadalnia. [przypis edytorski]

<sup>1079</sup>sakpalcie (daw.) — lekki płaszcz męski, noszony głównie wiosną lub latem. [przypis edytorski]

<sup>1080</sup>kadencja — w muzyce: sekwencja dźwięków stanowiąca zakończenie utworu lub jego części; w mowie: intonacja opadająca, podkreślająca koniec frazy. [przypis edytorski]

<sup>1081</sup>Palestrina, Giovanni Pierluigi da (1525–1594) — włoski kompozytor muzyki religijnej, autor kompozycji chóralnych *a cappella*; wywarł długotrwały wpływ na rozwój muzyki kościelnej i świeckiej w Europie, zwłaszcza na rozwój kontrapunktu; stworzył polifoniczny styl zwany palestrinowskim. [przypis edytorski]

<sup>1082</sup>aria vivace (muz., wł.) — aria w żywym, żwawym tempie. [przypis edytorski]

<sup>1083</sup>presto (muz., wł.) — tempo w muzyce: spieszenie, szybko. [przypis edytorski]

<sup>1084</sup>eklektyczny — łączący elementy różnych stylów. [przypis edytorski]

umocowują pod brzuchem ptaków lub ryb, aby wróciwszy im wolność, móc śledzić ich wędrówki.

Toteż powiedziałem Franciszce, że mam jakieś zlecenie na mieście i żeby mi przysłała jedną z dziewcząt, które wpadały do nas co chwila, zabierając lub odnosząc bieliznę, chleb lub bańki z mlekiem, i przez które Franciszka często coś załatwiała. Postępowałem w tym jak Elstir, który zmuszony siedzieć w pracowni w wiosenny dzień, kiedy świadomość, że lasy pełne są fiołków, rozpierała go chęcią ujrzenia tych kwiatów, posyłał czasem odzwiertną, aby mu kupiła bukietek fiołków. Miał wrażenie, że widzi nie stół, na którym postawił mały roślinny model, ale całe poszycie, gdzie widywał niegdyś tysiącami giętkie lodygi uginające się pod dzióbkami lila; zdawało mu się wręcz, że widzi imaginacyjną strefę, którą zakreślał w jego pracowni przejrzysty zapach czarodziejskiego kwiatu.

Co się tyczy praczek, w niedzielę nie było ani marzenia o tym, żeby przyszła któraś! Dziewczyna z piekarni zadzwoniła niestety w porze, kiedy Franciszki nie było, zostawiła chleb w sieni i poszła. Owocarka miała przyjść dopiero znacznie później. Wszedłem raz do mlecarni po ser i pośród młodych sklepówek zauważyłem jedną, istne szaleństwo blond, wysoką, mimo że bardzo dziewczęcą, która pośród innych dziewcząt zdawała się marzyć w postawie dosyć hardej. Widziałem ją tylko z daleka, przechodząc tak szybko, że nie mógłbym powiedzieć, jak wygląda, chyba to, że musiała rósć za prędko i że głowę jej stroiło runo robiące wrażenie nie tyle uwłosienia, ile stylizowanych w rzeźbie równoległych fal śniegu na lodowcu. Oto wszystko, com zauważył, zarówno jak bardzo wyrazisty nos (rzecz rzadka u dziecka) na szczupłej twarzy, przypominającej dziób młodych sępiąt. Zresztą nie tylko obecność zasłaniających ją koleżanek przeszkodziła mi ją dobrze widzieć, ale i nieświadomość uczuć, jakie mogłem u niej (z pierwszego wejrzenia i później) budzić; czy to byłyby uczucia surowej dumy, ironii, czy wzgardy zwierzzonej później przyjaciółkom. Kolejne domysły w tej mierze, jakim się oddawałem przez sekundę, zagęściły dokoła młodej dziewczyny mgłę, w której kryła się niby bogini w chmurze drżącej od pioruna. Bo niepewność duchowa bardziej utrudnia ścisłą percepcję wzrokową, niżby ją utrudniała fizyczna wada oka. W owej zbyt szczupłej młodej osobie (zanadto może ściągającej uwagę) odstręczał mnie właśnie nadmiar tego, co kto inny nazwałby może „wdziękami”; ale i tak rezultatem był fakt, że obecność jej nie pozwoliła mi nawet spostrzec, a tym bardziej przypominać sobie innych młodych mleczarek, które orli nos tej jednej i spojrzenie jej — niezbyt miłe — zamyślane, zdecydowane, krytyczne niejako, pograżyły w ciemności na kształt błyskawicy blond, grającej w mroku otaczający krajobraz. I tak, z mojej bytności w mlecarni, mającej na celu zamówienie sera, przypominałem sobie (jeżeli można powiedzieć „przypominam sobie” o rysach tak słabo utrwalonych, że dziesięć razy do nieuchwytniej twarzy przymierza się coraz to inny nos), przypominałem sobie tylko tę jedną — która mi się nie podobała. To wystarcza jako początek miłości. Mimo to byłbym zapomniał o tym „szaleństwie blond” i nie pragnąłbym nigdy jej ujrzeć, gdyby mi Franciszka nie powiedziała, że dziewczyna, mimo iż smarkata, jest już bardzo szczwana i że ma się rozstać z chlebobawczynią, ponieważ zbyt się lubiąc stroić, ma długi w dzielnicy. Powiedziano, że piękność jest obietnicą szczęścia; i na odwrót, możliwość rozkoszy może być początkiem piękności.

Wziąłem się do czytania listu mamy. Poprzez cytaty z pani de Sévigné („Jeżeli moje myśli w Combray nie są całkiem czarne, są bodaj ciemno-szare; wciąż myślę o tobie, pragnę twojej obecności; twoje zdrowie, twoje sprawy, twoje oddalenie, jak sądzisz, czym może być to wszystko o szarej godzinie?”) czułem, iż matka nierada jest, że pobyt Albertyny przeciąga się i utrwała, mimo iż jeszcze nie oświadczyłem się mojej „lubej” z intencjami małżeństwa. Matka nie mówiła tego wyraźniej, bojąc się, że mogę zostawić list gdzieś na wierzchu. Ale mimo że pisała tak mglisto, wyrzucała mi, że nie potwierdzam po każdym liście jego odbioru: „Wiesz, co mówiła pani de Sévigné: »Kiedy się jest daleko, nie żartuje się z listów zaczynających się od: Otrzymałem twój list«”. Nie wspominając o tym, co ją najbardziej niepokoiło, mama wyrażała niezadowolenie z mojego marnotrawstwa: „Gdzie może się podziewać tyle pieniędzy? Już dosyć martwi mnie to, że jak Charles de Sévigné nie wiesz, czego chcesz, i masz w sobie »paru ludzi naraz«; ale staraj się bodaj nie naśladować go w wydatkach, żebym nie mogła powiedzieć o tobie: »Potrafił wyrzucać pieniądze bez efektu, przegrywać, nie grając, i płacić, nie wychodząc z długów«”.

Piękno, Szczęście, Rozkosz

Kończyłem list, kiedy przyszła Franciszka z wiadomością, że jest właśnie owa zbyt śmiała mleczareczka, o której mówiła. „Wybornie może odnieść list panicza i załatwić, co potrza, jeżeli to nie za daleko. Zobaczy panicz, wygląda jak Czerwony Kapturek”. Franciszka poszła po nią i słyszałem, jak mówi w drodze: „No i co, boisz się, bo jest korytarz, ty niezguło; myślałam, że jesteś mniejsza ciemięga. Mam cię prowadzić za rękę?”. I Franciszka, dobra i dzielna służąca, chcąca, aby inni szanowali jej pana tak, jak go szanuje ona sama, udrapowała się w ów majestat, który na obrazach starych mistrzów uszlachetnia rajfurki przesłaniające niemal parę kochanków. Ale Elstir, kiedy patrzył na fiolki, nie troszczył się o to, co one robią.

Wejście młodej mleczarki wytrąciło mnie ze spokoju obserwatora; myślałem już tylko o tym, aby uprawdopodobnić bajeczkę o liście do odniesienia; zacząłem pisać szybko, ledwie śmiejąc na nią popatrzeć, aby się nie zdawało, żem ją po to sprowadził. Strojna była dla mnie w ów czar tajemnicy, którego nie miałyby jakaś ładna dziewczyna spotkana w jednym z zakładów, gdzie na nas zawodowo czekają. Nie była ani naga, ani przebrana; ot, prawdziwa mleczarka, z tych, które się nam wydają tak ładne, kiedy nie mamy czasu się do nich zbliżyć; miała coś z tego, co tworzy wiekuiste pragnienie, wiekuisty żal życia, którego podwójny bieg odwrócił się wreszcie, zbliżył się do nas. Podwójny, bo o ile chodzi o Nieznane, o istotę, której boskość odgadujemy z jej postawy, proporcji, z obojętnego spojrzenia, wyniosłego spokoju, pragniemy z drugiej strony, aby ta kobieta miała znamiona swojego zawodu, pozwalając nam uciec w ów świat, w którego inność swoisty jej strój pozwala nam romantycznie wierzyć. Zresztą jeżeli chcemy zamknąć w jednej formule prawo naszych ciekawości miłosnych, trzeba szukać tej formuły w maksimum odchylenia między kobietą spostrzeżoną przelotnie a kobietą poznaną, pieszczoną. Jeżeli mieszkanki tego, co się dawniej nazywało „zamtuzem”<sup>1085</sup>, jeżeli nawet kokoty<sup>1086</sup> (o ile wiemy, że to są kokoty) pociągają nas tak mało, to nie dlatego, aby były mniej piękne od innych, ale dlatego, że są zawsze gotowe; że z punktu ofiarowują to, o co właśnie pragnęlibyśmy zabiegać; że nie są zdobyczą. Rozchylenie sprowadza się do minimum. Prostytutka uśmiecha się do nas już na ulicy, tak jak się będzie uśmiechała w naszych objęciach. My jesteśmy rzeźbiarze. Pragniemy stworzyć z kobiety posąg całkowicie różny od kształtu, w jakim się nam objawiła. Widzieliśmy nad morzem dziewczynę obojętną, zuchwałą; widzieliśmy za ladą poważną i czynną pannę sklepową, która traktuje nas oschle, bodaj dlatego aby się nie narazić na drwiny koleżanek; owocarke, która nam ledwo odpowiada. I nie mamy spokoju, póki nie doświadczymy, czy harda dziewczyna znad morza, czy panna sklepowa bojąca się „języków”, czy wgardliwa owocarka nie będzie skłonna pod wpływem naszych zręcznych manewrów ugiąć swoją sztywną postawę, okolic nam szyję ramionami, które nosiły owoce, z łaskawym uśmiechem pochylić ku naszym ustom swoje oczy — o piękności surowych oczu! — dotąd lodowate lub obojętne w godzinach pracy, gdy pracownica tak się lęka obmowy koleżanek; oczy, które unikały naszych natarczywych spojrzeń, a które teraz, kiedyśmy ją ujrzeli sam na sam, uginają swoje źrenice pod słonecznym ciężarem śmiechu towarzyszącego zabiegom miłosnym. Pomiędzy sklepówką, praczką prasującą uważnie, owocarką, mleczarką i tą samą dziewczyną skłonną zostać naszą kochanką ziściło się maksimum odchylenia, wyciągniętego jeszcze do ostatnich granic i urozmaiconego zawodowymi gestami jej rąk przy pracy; coś możliwie najróżniejszego — jako linia — od owych giętkich więzów, które co wieczora oplotą naszą szyję, gdy usta gotują się do pocałunku. Toteż trawimy życie na niespokojnych, wciąż ponawianych zalotach do cnotliwych dziewcząt, które rzemiosło ich od nas oddała. Raz znalazłszy się w naszych ramionach, są już tylko tym, czym były; przestrzeń, o której przebyciu marzyliśmy, znikła. Ale zaczynamy to samo z innymi, zużywamy na te zabiegi wszystek czas, pieniądze, siły, wściekamy się na zbyt powolnego woźnicę, przez którego przepadnie nam może pierwsza schadzka, mamy gorączkę. A przecież wiemy, że ta pierwsza schadzka zniweczy jedynie złudzenie! Nie dbamy o to, póki złudzenie trwa; chcemy sprawdzić, czy można je zmienić w rzeczywistość, i wówczas myślimy o młodej pracce, której chłód zauważyliśmy. Ciekawość miłosna jest jak ta, którą w nas budzą nazwy miejscowości; zawsze zawiedziona, odradza się i pozostaje wciąż nieugaszona.

<sup>1085</sup>zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>1086</sup>kokota (daw.) — prostytutka. [przypis edytorski]

Niestety! Znalazłszy się przede mną, mleczarka z burzą blond włosów, odarta z tyłu zbudzonych we mnie rojeń i pragnień, skurczyła się, stała się tylko sobą. Drżąca chmura moich domysłów nie kłębiła się już koło niej. Miała minę jakby zafrasowaną tym, że w miejsce dziesięciu, dwudziestu nosów, którym sobie daremnie kolejno przypominał, miała tylko jeden nos okrąglejszy, niż mi się zdawało, budzący wrażenie głupoty, a w każdym razie pozbawiony daru mnożenia się. Ten ujarzmiony, bezwładny, unicestwiony lot, niezdolny nic przydać jej mizernej oczywistości, nie miał już współpracownicy w mojej wyobraźni. Popadłszy w bezwład realności, próbowałem odskoczyć; niezauważona w sklepie twarzyczka wydała mi się tak ładna, że mnie aż onieśmieliła; aby sobie przydać odwagi, rzekłem:

— Może panienka zechce podać mi „Figaro”, które tam leży; muszę sprawdzić, jak się nazywa miejsce, dokąd chcę panienkę posłać.

Biorąc gazetę, odwinęła do łokcia czerwony rękaw żakietu i podała mi konserwatywny dziennik zręcznym i wdzięcznym gestem, ujmującym swobodną zwinnością, miękkością i barwą szkarlatu. Przeglądając „Figaro”, równocześnie, aby coś rzec, spytałem, nie podnosząc oczu:

— Jak się nazywa to, co panienka ma, ten czerwony trykot, to bardzo ładne.

Odpowiedziała:

— Golf.

Bo w procesie degradacji właściwej wszystkim modom, stroje i mody stanowiące przed kilku laty przywilej eleganckiego stosunkowo świata przyjaciółek Albertyny obecnie stały się udziałem robotnic.

— Czy to by panience naprawdę nie szkodziło — rzekłem, udając, że czegoś szukam w „Figarze” — gdybym panienkę posłał choćby trochę daleko?

Z chwilą gdy okazałem, że uważam żądany kurs za coś uciążliwego, zaraz i ona zaczęła robić trudności.

— Bo... miałam się trochę przejechać na rowerze. Cóż, my mamy tylko niedzielę...

— Ale czy panience nie zimno tak z gołą głową?

— Och, nie będę z gołą głową, mam polo, zresztą mogłabym się bez niego obejść z moimi włosami.

Objąłem wzrokiem płowe i kręcące się włosy i uczulem, że ich wir unosi moje bijące serce w światło i burze huraganu piękności. Dalej przeglądałem dziennik, ale mimo iż czyniłem to jedynie dla zachowania kontenansu i zyskania na czasie, udając tylko, że czytam, i tak rozumiałem sens słów, które miałem przed oczami. Uderzyło mnie co następuje: „Do zapowiedzianego przez nas programu, mającego się odbyć dziś popołudniu w wielkiej sali Trocadéro, trzeba nam dodać nazwisko panny Lei, która zgodziła się wystąpić w *Szelmostwach Neryny*<sup>1087</sup>. Wykona oczywiście rolę Neryny, w której oszałamia werwą i czaruje wesołością”.

Było to tak, jakby ktoś zdarł mi z serca opatrunek, pod którym zaczęło się ono goić od powrotu z Balbec. Fala moich lęków buchnęła strumieniem. Lea to była owa aktorka zaprzyjaźniona z dwiema pannami z Balbec, którym Albertyna pewnego popołudnia przyglądała się w lustrze w kasynie, udając, że ich nie widzi. Prawda, że w Balbec, słysząc nazwisko Lei, Albertyna oświadczyła mi szczególnie uroczyście, niemal zgorszona, że ktoś może podejrzewać taką cnotę: „Och, nie, ona wcale nie jest taka, to bardzo przyzwyczajona osoba”. Niestety, kiedy Albertyna wygłaszała tego rodzaju sądy, były one zawsze tylko pierwszym stadium rozbieżnych zeznań. Niedługo po pierwszym przychodziło to drugie: „Nie znam jej”. Na trzeciej kondygnacji, kiedy Albertyna orzekła o takiej osobie, że jest „ponad wszelkie posądzenia” i że jej (po drugie) nie zna, zapomniała stopniowo najpierw tego, że jej jakoby nie zna, i „sypiąc się” bezwiednie jakimś powiedzeniem, przyznawała, że ją zna. Po pierwszej gafie i nowym twierdzeniu, zaczynało się drugie zapomnienie, tyżące faktu, że dana osoba jest „niepodejrzana”. „Czy ona — pytałem — nie ma takich gustów?” — „Ależ oczywiście, jak to, przecież to wszyscy wiedzą!”. I natychmiast zjawiał się ton uroczysty, celem stwierdzenia, które było mglistym i wątlwym echem owego pierwszego: „Muszę powiedzieć, że ze mną była zawsze bardzo przyzwyczajona”.

<sup>1087</sup> *Szelmostwa Neryny* — *Fourberies de Nérine* (1864), francuska komedia Théodore’a de Banville, inspirowana komedią Moliera *Szelmostwa Skapena*. [przypis edytorski]



Oczywiście, wiedziała, że by się spotkała z ładnym przyjęciem! Ale ostatecznie to nie ma znaczenia. Muszę jej być wdzięczna za prawdziwy szacunek, jaki mi zawsze okazywała. Zaraz widać, że wie z kim ma do czynienia”.

Pamiętamy prawdę, bo ma nazwę, dawne korzenie, ale zaimprovizowanego kłamstwa zapominamy szybko. Albertyna zapomniała tego ostatniego — czwartego — kłamstwa i pewnego dnia, kiedy chciała zyskać zwierzeniami moją ufność, posunęła się do powiedzenia o tej samej osobie, z początku tak przyzwoitej i której jakoby nie znała: „Ona ma feblika<sup>1088</sup> do mnie. Kilka razy prosiła mnie, żebym ją odprowadziła do domu i wstąpiła do niej. W odprowadzeniu nie widziałam nic złego, przy wszystkich, w biały dzień, na ulicy. Ale zaszedłszy pod dom, zawsze znalazłam jakiś pozór i nigdy nie weszłam”. W jakiś czas potem Albertyna natraçała coś o pięknych meblach u tej osoby. Zestawiając jedno z drugim, doszłoby się z pewnością do wydobycia prawdy, może mniej groźnej, niż byłam skłonny przypuszczać, bo mimo iż łatwa z kobietami, Albertyna wołała może kochanka i teraz, mając mnie, nie myślałaby może o Lei.

Bądź co bądź, co się tyczyło owej Lei, znajdowałem się dopiero w pierwszej fazie i nie wiedziałem, czy Albertyna ją zna. Wystarczyłoby — w każdym razie co do wielu kobiet — postawić Albertynie do oczu, w skrócie, jej sprzeczne zeznania, aby ją przekonać o jej przewinach (przewinach, które jak prawa astronomiczne, o wiele łatwiej jest wydedukować niż zaobserwować i podchwycić w rzeczywistości). Ale ona wolałaby raczej przyznać, że mówiąc coś, skłamała (burząc tym odwołaniem cały mój system), niż uznać, że wszystkie jej opowiadania od początku były tylko pasmem bajek. Takie baśnie w *Tysiącu i jednej nocy* zachwycają nas; sprawiają nam natomiast ból w ustach kochanej kobiety, przez co pozwalają nam głębiej trochę wniknąć w znajomość natury ludzkiej zamiast się zadowolić jej powierzchnią. Cierpienie wciska się w nas i siłą bolesnej ciekawości zmusza nas do poznania. Stąd pewnych prawd nie czujemy się w prawie ukrywać; tak iż umierający ateusz, który je odkrył, przeświadczony o nicości wszystkiego, niedbający o sławę, obraca jednak ostatnie godziny na to, by je przekazać.

Niewątpliwie, co się tyczy Lei, byłem dopiero przy pierwszym z tych twierdzeń. Nie wiedziałem nawet, czy Albertyna ją zna. Ale to wychodziło na jedno. Trzeba było za wszelką cenę uniknąć tego, aby mogła w Trocadéro odszukać tę znajomą lub zapoznać się z tą nieznaną. Powtarzam, nie wiedziałem, czy ona zna Leę, mimo iż musiałem przecie słyszeć o tym w Balbec od samej Albertyny. Bo zapomnienie unicestwiała we mnie, tak jak w Albertynie, znaczną część tego, co mi mówiła. Zamiast być dubletem epizodów naszego życia, wciąż obecnym naszym oczom, pamięć jest raczej nicością, z której chwilami jakieś podobieństwo pozwala nam wskrzesić martwe wspomnienia; ale i tak jest tysiąc drobnych faktów, które nie dostały się w orbitę pamięci i które umkną się na zawsze naszej kontroli. Nie zwracamy uwagi na wszystko to, czego związków z realnym życiem ukochanej istoty nie znamy, zapominamy natychmiast tego, co nam mówiła w związku z jakimś obcym nam faktem lub człowiekiem, i miny, jaką miała, mówiąc o tym. Toteż kiedy później ten sam człowiek obudzi naszą zazdrość, wówczas dla przekonania się, czy się nie mylimy, czy w istocie z nim należy wiązać pośpiech, z jakim nasza kochanka pragnie wyjść z domu, lub jej niezadowolenie, żeśmy jej w tym przeszkodzi-li naszym wcześniejszym powrotem, zazdrość nasza, szperając w przeszłości za jakimiś wskazówkami, nie znajduje nic; wciąż nieuleczalnie retrospektywna, znajduje się w położeniu dziejopisa, który miał pisać jakąś historię, nie posiadając żadnego dokumentu; wciąż zapóźniona, rzuca się jak wściekły byk właśnie nie tam, gdzie się znajduje harda i świetna istota, drażniąca go swymi ukłuciami i wspaniałą a zręczną postawą budząca podziw okrutnego tłumu. Zazdrość miota się w próżni, niepewna, jak my jesteśmy niepewni w owych snach, w których cierpimy, że w pustym domu nie znajdujemy tej, którą znaleźliśmy wprawdzie w życiu, ale która tutaj jest może kim innym i tylko pożyczyła rysów od innej; niepewna tak — i bardziej — jak my jesteśmy jeszcze niepewni po zbudzeniu się, kiedy staramy się utożsamić jakiś szczegół snu. Jaką minę miała, mówiąc to a to; czy nie była rozradowana, czy nie pogwizdywała nawet, co czyni tylko wtedy, kiedy ma w głowie jakieś lubieżne myśli? W dobie miłości, kiedy bodaj trochę obecność nasza krępuje ją i drażni, czyż nie powiedziała czegoś sprzecznego z tym, co twierdzi obecnie, że

<sup>1088</sup>feblik — słabość, skłonność. [przypis edytorski]

kogoś zna lub nie zna? Nie wiemy tego, nie dowiemy się nigdy; zaciekle szukamy nieuchwytnych szczątków snu, przez ten czas współżycie z kochanką trwa, życie niebaczne na to, czego ważności dla nas nie znamy, baczne na to, co nie jest może ważne, udręczone osobami bez żadnego z nami realnego związku, życie pełne zapomnień, luk, czczych lęków — życie podobne do snu.

Spostrzegłem, że mleczarka wciąż jest w pokoju. Oznajmiłem, że stanowczo to by było za daleko, że jej nie potrzebuję. Wówczas uznała również, że to byłoby zbyt uciążliwe: „Jest piękny mecz dzisiaj, nie chciałabym go opuścić”. Odgadłem, że już musi lubić sporty i że za kilka lat będzie mówiła: „wyżyć się”. Oświadczyłem, że jej stanowczo nie potrzebuję i dałem jej pięć franków. Nie spodziewała się tego; po czym natychmiast, skombinowawszy widocznie, że skoro dostała pięć franków za nic, dostałaby znacznie więcej za posyłkę, zaczęła uważać, że mecz nie ma znaczenia. „Byłabym chętnie załatwiła panu zlecenie. Zawsze można jakoś znaleźć czas”. Ale ja popchnąłem ją lekko w stronę drzwi; potrzebowałem zostać sam, trzeba było za wszelką cenę nie dopuścić, żeby się Albertyna spotkała w Trocadéro z przyjaciółkami Lei. Tak, trzeba było koniecznie to osiągnąć; co prawda, nie wiedziałem jeszcze jak; na razie rozkładałem dłonie, oglądałem je, wyłamywałem palce, jak gdyby umysł, nie mogąc znaleźć tego, czego szuka, zdjęty lenistwem, godził się zrobić postój przez chwilę, w której najubożniejsze rzeczy ukazują mu się oddzielnie, niby owe źdźbła trawy na skarpie, które widzimy z wagonu drzące na wietrze, kiedy pociąg zatrzyma się w szczerym polu. (Nieruchomość ta nie zawsze jest zresztą płodniejsza od bezwładu pojmanego zwierzęcia, które sparaliżowane strachem lub urzeczzone, patrzy bez ruchu). A może trzymałem w pogotowiu swoje ciało — a w nim inteligencję, a w niej sposoby działania na daną osobę — jako coś będącego już tylko bronią, z której padnie cios rozdzielający Albertynę z Leą i jej przyjaciółkami? Niewątpliwie, kiedy Franciszka oznajmiła rano, że Albertyna wybiera się do Trocadéro, pomyślałem: „Albertyna może robić, co się jej podoba” i wierzyłem, że aż do wieczora w tę cudną pogodę postęпки jej pozostaną dla mnie czymś bez znaczenia; ale nie tylko poranne słońce (jak przypuszczałem) uczyniło mnie tak bez troskim, lecz fakt, że skłoniwszy Albertynę do wyrzeczenia się projektów, jakie mogłaby nawiązać lub wręcz zrealizować u Verdurinów, i doprowadziwszy ją do pójścia na widowisko, które sam wybrałem i w związku z którym nie mogła nic obmyślić, wiedziałem, że ta zabawa będzie z konieczności niewinna. Tak samo kiedy Albertyna powiedziała w chwilę później: „Jeżeli się zabiję, to mi jest wszystko jedno”, to dlatego, iż była przekonana, że się nie zabije. Przedemną, jak przed Albertyną, istniała w tym poranku (o wiele bardziej niż jego słoneczność) strefa, której nie widzimy, ale poprzez której przezroczyste i zmienne przewodzenie widzimy, ja jej postęпки, ona ważność własnego życia, to znaczy owe wierzenia, których nie jesteśmy świadomi, ale których tak samo nie można utożsamiać z czystą próżnią, jak otaczającego nas powietrza; tworzą one dokoła nas atmosferę zmienną, czasem wyborną, często niepodobną do oddychania, warte, aby je zbierać i notować tak starannie jak temperaturę, jak stan barometru, jak porę roku, bo nasze dni mają swoją fizyczną i moralną odrębność. Niezauważona owego rana przeze mnie wiara, która jednak spowijała mnie radośnie aż do chwili, w której otwarłem „Figaro”, wiara, że Albertyna spędzi niewinnie czas — ta wiara znikła. Już nie żyłem w pięknym dniu, ale w dniu zrodzonym w łonie tamtego dnia z niepokoju, aby Albertyna nie nawiązała stosunków z Leą, a jeszcze łatwiej z dwiema podejrzanyimi pannami, jeżeli, jak było prawdopodobne, pospieszą oklaskiwać aktorkę do Trocadéro, gdzie łatwo mogłyby w antrakcie spotkać Albertynę. Nie myślałem już o panie Vinteuil; imię Lei przypomniało mi, ku mojej męce, obraz Albertyny w kasynie w pobliżu tych dwóch dziewczyn. Bo posiadałem w pamięci jedynie „serie” Albertyny, oddzielne, niezupełne, profile, migawki; toteż zazdrość moja ograniczała się do rwanego, ulotnego i utrwalonego zarazem wyrazu i do istot, które sprowadziły ów wyraz na twarz Albertyny. Przypominałem ją sobie, kiedy się jej w Balbec zanadto przyglądały owe dwie panny lub kobiety „w tym rodzaju”; przypominałem sobie cierpienie, jakiego doznawałem, widząc przebiegające po twarzy Albertyny spojrzenia czynne niby oko szkicującego malarza, po twarzy całkiem pokrytej przez te spojrzenia i — zapewne wskutek mojej obecności — poddającej się tym kontaktom jakby bezwiednie, z lubieżną może potajemnie biernością. I zanim Albertyna opamiętała się i przemówiła do mnie, była sekunda, przez którą nie ruszała się, uśmiechała się w próżnię, z tym samym wyra-

zem udanej naturalności i tajonej przyjemności, co gdyby ją właśnie ktoś fotografował; lub nawet aby przybrać przed obiektywem zalotniejszą pozę — ową z Doncières w czasie przechadzki z Robertem — kiedy to, śmiejąc się i zwilżając wargi, udawała, że się drażni z psem. Zapewne w owych chwilach nie była zgoła tą samą, co kiedy ją zainteresowały jakieś dziewczęta. Wówczas, przeciwnie, jej wąskie i aksamitne spojrzenie stawało się bystre, przylepiało się do przechodzącej, tak czepne, tak żrące, że zdawało się, iż cofając się, uniesie kawał jej skóry. Ale w takiej chwili owo spojrzenie, które przynajmniej dawało Albertynie jakiś wyraz powagi, niemal cierpienia, wydawało mi się słodkie wobec martwego wyrazu szczęścia, jaki miała w pobliżu tych dwóch panien; wołałbym już posępny dreszcz żądz, jaką sama czuła może niekiedy, od roześmianej miny wywołanej żądzą, którą ona budziła. Daremnie próbowała pokryć świadomość tego; świadomość ta opływała ją, spowijała, mglista, rozkoszna, różowiła całą jej twarz. Ale wszystko to, co Albertyna dławiła w owych chwilach w sobie, co promieniowało z niej i sprawiało mi tyle bólu, kto wie czy w mojej nieobecności zachowałyby podobne milczenie; czy teraz, kiedy mnie tam nie ma, nie odpowie śmieiej na zaloty tych dwóch dziewczyn. Z pewnością wspomnienia te sprawiały mi wielki ból, były niby całkowitym wyznaniem skłonności Albertyny, generalną spowiedzią jej zdrad. Nie mogły tego przeciwważyć jej okolicznościowe przysięgi, w które chciałem wierzyć, ani ujemne wyniki moich dorywczych dochodzeń, zapewnienia Anny, może będącej w zмовie z Albertyną. Albertyna mogła się zapierać swoich zdrad; ale słowa, które się jej wymykały, silniejsze od zaprzeczeń, same jej spojrzenia, zawierały o wiele więcej niż poszczególne fakty wyznania tego, co chciałaby ukryć, tego, co zanimby wyznała, raczej dałaby się zabić: jej skłonności. Bo żadna istota nie chce wydać swojej duszy.

Mimo bólu, jaki mi sprawiały te wspomnienia, czyż mógłbym zaprzeczyć, że to program w Trocadéro zbudził we mnie na nowo potrzebę Albertyny? Była z tych kobiet, którym urok ich mógłby w potrzebie zastąpić ich przywary, a także dobroć, która następuje po przewinie, dając nam ową słodycz, którą niby chory nigdy nieczujący się dobrze dwa dni z rzędu, wciąż musimy z nich wydzierać na nowo. Zresztą prócz ich występków z okresu naszej miłości istnieją tym bardziej występki z czasu, gdyśmy ich nie znali, a pierwszym z nich jest ich natura. Mękę takiej miłości stanowi preegzystujący przed nią jak gdyby grzech pierworodny kobiety, grzech, który każe nam je kochać, tak iż kiedy zapominamy o nim, mniej jej potrzebujemy i aby zacząć na nowo kochać, musimy zacząć na nowo cierpieć.

W tej chwili obawa, by Albertyna nie spotkała owych dziewcząt, oraz myśl, czy ona zna Leę, to były rzeczy, które mnie najbardziej obchodziły, wbrew temu, że fakty powinny nas interesować jedynie w ogólnym sensie i że dzieciństwem<sup>1089</sup>, równym dzieciństwu podróży lub chęci poznania kobiet, jest rozdrabniać ciekawość na to, co przypadkowo skryształizowało się w naszej myśli z niewidzialnego strumienia okrutnych realności, które nam pozostaną na zawsze nieznanne. Zresztą gdybyśmy nawet zdołali zniszczyć tę kryształizację, natychmiast zastąpiłaby ją inna. Wczoraj bałem się, aby Albertyna nie poszła do pani Verdurin. Teraz zaprzętała mnie jedynie Lea. Zazdrość, która ma przepaskę na oczach, nie tylko niezdolna jest odkryć cośkolwiek w ciemnościach, które ją spowijają; jest ona także jedną z owych mąk, każących wciąż rozpoczynać trud bez końca, jak pracę Danaid<sup>1090</sup>, jak pracę Iksjona<sup>1091</sup>. Nawet gdyby tam nie było przyjaciółek Lei, jakie wrażenie mogłaby sprawić na niej sama Lea, upiękuszona kostiumem, uświetniona sukcesem; jakie marzenia zostawiłaby w Albertynie, jakie żądze, które, nawet powściągnięte, budziłyby w niej wstręt do życia ze mną, życia niezdolnego ich zaspokoić?

Kto wie zresztą, czy Albertyna nie zna Lei i czy nie pójdzie do niej do garderoby, a nawet czy Lea jej nie zna; kto mnie zapewni, czy widziawszy ją w każdym razie w Balbec, Lea nie pozna jej i czy nie da ze sceny znaku uprawniającego Albertynę do pójścia

<sup>1089</sup> *dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>1090</sup> *Danaidy* (mit. gr.) — córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane w świecie zmarłych na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach. [przypis edytorski]

<sup>1091</sup> *Iksjon* (mit. gr.) — król Lapitów w Tesalii, wslawiony jako pierwszy zabójca własnego krewnego oraz jako śmiałek, który zakochał się w Herze, małżonce Zeusa, i próbował ją uwieść, za co został ukarany strąceniem do Tartaru i przykuciem do wiecznie obracającego się, płonącego koła. [przypis edytorski]

za kulisy? Niebezpieczeństwo wydaje się niegroźne wówczas, gdy jest zażegnane. To nie było jeszcze zażegnane i bałem się, że nie będzie, i wydawało mi się tym straszliwsze. A jednak miłość do Albertyny, gasnąca prawie, kiedy ją próbowałem sobie uświadomić, znajdowała poniekąd w tej chwili dowód w gwałtowności mojego bólu. Nie dbałem już o nic innego, myślałem tylko o sposobach wyrwania jej z Trocadéro; ofiarowałbym Lei wszelką sumę, byle tam nie szła. Jeżeli tedy postęпки bardziej dowodzą naszych uczuć niż nasze myśli, dowodziłoby to, że kocham Albertynę. Ale ten nawrót mego cierpienia nie przydawał we mnie realności obrazowi Albertyny. Była przyczyną moich cierpień jak niewidzialne bóstwo... Czyniąc tysiące przypuszczeń, starałem się stępić swoje cierpienia, nie potwierdzając tym samym swojej miłości.

Najpierw trzeba było być pewnym, że Lea będzie w istocie w Trocadéro. Odprawivszy mleczarkę, zatelefonowałem z zapytaniem do Blocha, zaprzyjaźnionego z Leą. Nie miał pojęcia; zdziwił się, że mnie to może interesować. Pomyślałem, że trzeba się śpieszyć, że Franciszka jest ubrana, a ja nie; zacząłem się zbierać, a jej kazałem wziąć auto; miała się udać do Trocadéro, kupić bilet, odszukać Albertynę na sali i oddać jej słówko ode mnie. Donosiłem Albertynie, że mnie do głębi wstrząsnął list otrzymany właśnie od osoby, z powodu której byłem tak nieszczęśliwy pewnej nocy w Balbec. Przypomniałem Albertynie, iż nazajutrz wyrzuciła mi, że jej nie wezwałem. Toteż pozwalałem sobie — pisałem — prosić ją, żeby się wyrzekła dla mnie tego spektaklu i wróciła, aby pojechać ze mną trochę na spacer i pomóc mi ochłonąć. Ale ponieważ to potrwa dosyć długo, zanim się ubiorę i będę gotów, niechaj zechce skorzystać z obecności Franciszki, aby kupić w Trois-Quartiers (magazyn ów, jako mniejszy, mniej mnie niepokoił niż Bon Marché) biały tiulowy żabocik, którego potrzebuje.

Bilecik mój nie był zapewne zbyteczny. Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, co robi Albertyna od czasu, jak ją znałem, ani przedtem. Ale w jej odezvaniach się (w razie gdybym jej to powiedział, mogłaby rzec, że się przesłyszałem) były pewne sprzeczności, retusze, równie wymowne jak „gorący uczynek”, ale trudniejsze do wyzyskania przeciw Albertynie, która często schwytała na kłamstwie jak dziecko, za każdym razem jakimś strategicznym zwrotem udaremniała moje okrutne ataki i umacniała swoją sytuację. Okrutne zwłaszcza dla mnie. Albertyna posługiwała się — nie przez wyrafinowanie stylu, ale dla naprawienia swoich „wsypek” — owymi gwałtownymi zmianami składni, podobnymi trochę do tego, co gramatycy nazywają „anakolutem”<sup>1092</sup>, czy nie wiem jak. Posunąwszy się, mówiąc o kobietach, do słów: „Przypominam sobie, że niedawno ja”... nagle, po głębokim wdechu, „ja” zmieniano się w „ona”: to było coś, co Albertyna zauważała jako niewinna obserwatorka, bynajmniej zaś nie robiła tego sama. To nie ona była podmiotem. Byłbym chciał sobie przypomnieć ściśle początek zdania, aby samemu — skoro ona się wymigiwała — odtworzyć jego koniec. Ale kiedy usłyszałem ów koniec, zapomniałem początku, z którego może wyraz mego zainteresowania kazał jej zboczyć; i zostawałem niepewny jej prawdziwej myśli, autentycznego wspomnienia. Z początkami kłamstw naszej kochanki jest niestety tak, jak z początkami naszej miłości lub powołania. Tworzą się, skupiają się, mijają, niepostrzeżone dla nas samych. Kiedy sobie chcemy przypomnieć, jak zaczęliśmy kochać kobietę, już ją kochamy; o marzeniach poprzedzających miłość nie mówiliśmy sobie: „To jest początek miłości, baczność”, rozwijały się swobodnie, ledwie przez nas zauważone. Tak samo, z wyjątkiem wypadków stosunkowo rzadkich, wyłącznie niemal dla uproszczenia, przeciwstawiłem tu często jakieś kłamliwe słowa Albertyny jej pierwotnemu twierdzeniu w tym samym przedmiocie. Często to pierwotne twierdzenie (ile że nie czytałem w przyszłości i nie zgadywałem, jakie sprzeczne twierdzenie będzie mu odpowiadało) prześliznęło się niepostrzeżone; słyszałem je niewątpliwie uszami, ale nie wyodrębniłem go ze słów Albertyny. Później, wobec oczywistego kłamstwa lub dręczących podejrzeń, chciałbym je sobie przypomnieć; na próżno; pamięć moja, nieuprzedzona na czas, zaniedbała zachować kopii.

Polecilem Franciszce, kiedy wyprowadzi Albertynę z sali, żeby mnie uprzedziła telefonem i żeby mi ją przywiozła, bez względu na to, czy będzie z tego kontenta.

—Jeszcze by tego brakowało, żeby nie była kontenta, że zobaczy panicza — odparła Franciszka.

<sup>1092</sup>anakolut — błąd składniowy, zaburzający relację logiczną między członami zdania. [przypis edytorski]

— Ależ ja wcale nie wiem, czy ona tak lubi mnie widzieć.

— Musiałaby być bardzo niewdzięczna — odparła Franciszka, w której Albertyna wskrzesiła po tylu latach tę samą męczarnię zawiści, o jaką przyprawiała ją niegdyś Eulalia u cioci Leonii. Nie wiedząc, że to nie Albertyna zabiegała o ten stosunek, ale że ja go pragnąłem (co, przez ambicję i żeby Franciszkę doprowadzić do wściekłości, wołałem ukrywać), podziwiała z nienawiścią spryt Albertyny, nazywała ją w rozmowie z innymi służącymi „komediantką”, „czarownicą”, która robi ze mną, co zechce. Nie śmiała jeszcze wypowiedzieć jej wojny wprost, była dla niej uprzejma i chwaliła się przede mną przysługami, jakie jej oddaje, uważając, że na nic się nie zda mówić mi coś i że nie doprowadziłoby to do niczego; ale czyhała na sposobność; gdyby kiedyś odkryła w sytuacji Albertyny jakąś szczelinę, gotowała się rozszerzyć ją i rozdzielić nas zupełnie.

— Bardzo niewdzięczna? Ależ nie, Franciszko, to ja się czuję niewdzięczny, Franciszka nie wie, jaka ona jest dobra dla mnie. — Tak słodko mi było uchodzić za człowieka kochanego. — I niech Franciszka jedzie pędkiem.

— Już walę z kopyta, w trymiga.

Wpływ córki zaczynał trochę kazić słownictwo Franciszki. W ten sposób przez wpływ nowych terminów tracą swoją czystość wszystkie języki. I ja byłem pośrednio odpowiedzialny za tę dekadencję języka Franciszki, znanego mi w jego pięknych epokach. Córka Franciszki nie byłaby ściągnęła klasycznej mowy swojej matki do najniższego żargonu, gdyby poprzestała na mówieniu z nią gwarą. Nie odmawiała sobie nigdy tej przyjemności: kiedy byłem przy tym, o ile miały jakieś sekrety, wówczas zamiast się zamknąć w kuchni, wznosiły sobie w moim własnym pokoju mur bardziej nieprzebyty niż najlepiej zamknięte drzwi, a to mówiąc narzeczem ludowym swoich stron. Zgadywałem jedynie, że nie zawsze żyją w zbyt dobrej harmonii, wnosząc z częstego nawrotu jedyne słowa, które mogłem rozróżnić: *m'exasperate* (o ile przedmiotem tej „egzasperacji”<sup>1093</sup> nie byłem ja). Na szczęście, najmniej znany język staje się w końcu zrozumiały, jeśli się go słyszy ciągle. Żałowałem, że to była gwara, bo zdołałem się jej nauczyć; a równie dobrze byłbym się nauczył, gdyby Franciszka miała zwyczaj mówić na przykład po persku.

Kiedy Franciszka spostrzegła moje postępy, na próżno przyspieszała dykcję, córka również; nic nie pomogło. Franciszka była wściekła, że ja rozumiem gwarę, a potem uszczęśliwiona, że nią mówię. Prawdę rzekłszy, owo zadowolenie to były kpiny, bo mimo iż w końcu nauczyłem się wymawiać prawie tak jak ona, widziała między naszą wymową przepaści, które ją zachwycaly, i żałowała, że nie widuje ludzi ze swoich stron, o których nie myślała już od wielu lat, a których rada by usłyszeć, jak pękają ze śmiechu, słysząc mnie tak kaleczącego ich gwarę. Sama ta myśl napędza ją weselem i żalem; wylizywała kolejno wieśniaków, którzy by się splakali ze śmiechu. W każdym razie żadna radość nie zmąciła jej smutku, że nawet wymawiając źle, rozumiałem dobrze. Klucz staje się zbyt cenny, kiedy ten, któremu się chce przeszkodzić wejść, może się posłużyć wytrychem lub łomem. Skoro gwara straciła wartość obronną, Franciszka zaczęła się posługiwać z córką potoczną francuszczyzną, która rychło stała się językiem z najgorszych epok.

Byłem gotów; Franciszka jeszcze nie zatelefonowała; trzeba było iść, nie czekając. Ale kto wie, czy ona znalazła Albertynę? Czy Albertyna nie jest za kulisami, czy nawet w razie gdyby ją Franciszka znalazła, dałaby się sprowadzić? W pół godziny później rozległ się telefon; w sercu moim tłukły się nadzieja i obawa. Był to, na rozkaz władcy telefonu, lotny szwadron dźwięków, z błyskawiczną chyżością przynoszących mi słowa telefonisty, a nie Franciszki, której dziedziczna nieśmiałość i melancholia, zastosowane do sprzętu nieznanego jej ojcom, nie pozwalały się zbliżyć do słuchawki; raczej byłaby zdolna odwiedzić trędotawych. Spotkała w kuluarach samą Albertynę, która poszedłszy tylko uprzedzić Annę, że nie zostaje, zaraz wróciła do Franciszki.

— Czy nie gniewała się? A, przepraszam! Niech pan zechce spytać tej pani, czy panielka się nie pogniewała?

— Ta pani każe powiedzieć, że wcale nie, wręcz przeciwnie; w każdym razie, jeżeli nie była rada, nie było tego znać. Idą teraz do Trois-Quartiers i wrócą o drugiej.

Zrozumiałem, że druga oznacza trzecią, bo było już po drugiej. Ale to była u Franciszki jedna z jej swoistych, trwałych, nieuleczalnych wad — wad, które my nazywamy

<sup>1093</sup>egzasperacja (daw.; z fr.) — stan wielkiego rozdrażnienia; rozjątrzenie. [przypis edytorski]

chorobami — że nigdy nie mogła sprawdzić ani oznaczyć dokładnie godziny. Nie umiałem wręcz pojąć, co się dzieje w jej głowie. Kiedy Franciszka spojrzała na zegarek, jeżeli była druga, mówiła: „Jest pierwsza” albo „Jest trzecia”; przy czym nigdy nie umiałem zrozumieć, czy zjawisko to ma za siedzibę wzrok Franciszki, jej myśl lub mowę; tyle jest pewne, że powtarzało się stale. Ludzkość jest bardzo stara. Dziedziczność, skrzyżowania dały niezmienną siłę złym przyzwyczajeniom, wadliwym odruchom. Ktoś kicha i krztusi się, bo przechodzi koło krzaku róży; ktoś inny ma wysypkę od zapachu świeżej farby; wiele osób ma biegunkę, kiedy im trzeba jechać w podróż; a wnukowie złodziejów — ludzie milionowi i hojni — nie mogą się wstrzymać, aby nam nie ukraść pięćdziesięciu franków. Co się tyczy przyczyny, dla której Franciszka nie była zdolna powiedzieć dokładnej godziny, ona sama nigdy nie umiała mi tego wyjaśnić. Bo mimo gniewu, w jaki te niecisłe odpowiedzi mnie wprawiały, nigdy Franciszka nie próbowała ani przeprosić za swój błąd, ani go wytłumaczyć. Nie mówiła nic, robiła wrażenie, że nie słyszy, co mnie tym bardziej wściekało. Byłbym chciał usłyszeć słowo usprawiedliwienia, choćby po to, aby ją pognać; ale nic — obojętne milczenie.

W każdym razie co się tyczyło dnia dzisiejszego, nie było wątpliwości, Albertyna wróci z Franciszką o trzeciej, Albertyna nie zobaczy Lei ani jej przyjaciółek. Wówczas, skoro niebezpieczeństwo wznowienia ich stosunków było zażegnane, straciło w moich oczach całą swoją ważność, z jaką je odwróciłem, dziwiłem się, iż mogłem wątpić o tym. Odczułem żywą wdzięczność dla Albertyny, która — miałem tego dowód — nie poszła do Trocadéro dla przyjaciółek Lei i która opuszczając spektakl i wracając na moje skinienie, okazywała, że należy do mnie więcej, niż sobie wyobrażałem. Wdzięczność ta wzrosła jeszcze, kiedy goniec przyniósł mi od Albertyny bilecik proszący o cierpliwość i zawierający owe serdeczne zwroty, które jej były właściwe. „Drogi mój, najdroższy Marcelu, przybywam mniej szybko niż ten cyklista, któremu chciałabym zabrać jego gruchot, aby być prędzej przy tobie. Jak możesz przypuszczać, że się gniewam i że mogłoby mnie coś cieszyć więcej niż być z tobą? Jak miło będzie pojechać na spacer we dwoje, a jeszcze przyjemniej byłoby nigdy nie być inaczej niż we dwoje. Co tobie do głowy przychodzi? Ach, ten Marcel! Ten Marcel! Cała twoja — twoja Albertyna.

Suknie, które jej kupowałem, jacht, o którym jej mówiłem, peniuary Fortuny'ego, wszystko to, mając w tym posłuszeństwie Albertyny nie swoją kompensatę, ale swoje dopełnienie, wydawało mi się niby zbiorem moich przywilejów; obowiązki bowiem i ciężary pana stanowią część jego panowania i określają go, dowodzą tyleż co jego prawa. I te prawa, które mi Albertyna przyznawała, dawały właśnie moim ciężarom ich istotny charakter: miałem swoją kobietę, która na pierwsze przesłane niespodzianie słówko telefonowała z poddaniem, że wraca, że się pozwoli przyprowadzić natychmiast. Byłem bardziej panem, niż sądziłem. Bardziej panem, to znaczy bardziej niewolnikiem. Nie spieszyło mi się już do ujrzenia Albertyny. Pewność, że ona robi sprawunki z Franciszką albo wróci z nią w najbliższej chwili (chwili, którą bym chętnie oddalił), oświecała niby promienna i spokojna gwiazda czas, który teraz o wiele przyjemniej spędziłbym sam. Miłość do Albertyny kazała mi wstać i gotować się do wyjścia, ale przeszkodziłaby mi cieszyć się tym wyjściem. Myślałem, że dziś, w niedzielę, młode sklepówki, midinetki<sup>1094</sup>, kokotki muszą się przechadzać w Lasku<sup>1095</sup>. I z tych słów: midinetki, sklepówki (jak mi się często zdarzało z imieniem i nazwiskiem młodej panny wyczytanym w sprawozdaniu z balu), z obrazu białego stanika, krótkiej spódniczki (przez to, iż poza tym wszystkim mieściłem osobę nieznaną i mogącą mnie pokochać) sam sobie tworzyłem upragnioną kobietę, powiadając: „Jakie one muszą być ładne!”. Ale na co by mi się zdała ich ładność, skoro nie będę sam. Korzystając z tego, że jestem jeszcze sam i zasuwając do połowy portierę, aby słońce nie przeszkadzało mi czytać nut, siadłem do fortepianu, otwarłem na los szczęścia sonatę Vinteuila i zacząłem grać; ponieważ przybycie Albertyny było jeszcze nieco oddalone, ale w zamian całkiem pewne, miałem i czas i spokój ducha. Skąpany w bezpiecznym oczekiwaniu jej powrotu z Franciszką oraz pewności jej posłuszeństwa, niby w błogim wewnętrznym świetle grzejącym na kształt światła z zewnątrz, mogłem rozporządzać swoją myślą, odłączyć ją na chwilę od Albertyny, przenieść ją na sonatę.

<sup>1094</sup>*midinetka* (z fr.) — młoda sprzedawczyni w domu mody; także: dziewczyna frywolna, skora do przygód towarzyskich. [przypis edytorski]

<sup>1095</sup>*Lasek* — Lasek Buloński, park w Paryżu. [przypis edytorski]

Nawet w tej sonacie nie siliłem się zauważyć, o ile kombinacja motywów rozkoszy i lęku bardziej teraz odpowiada mojej miłości do Albertyny, miłości, której zazdrość tak długo była obca, że mogłem przyznać się przed Swannem do nieznajomości tego uczucia. Nie, biorąc sonatę z innego punktu widzenia, oceniając ją jako dzieło wielkiego artysty, uczulem, że dźwięczna fala niesie mnie ku dniom w Combray — nie chcę powiedzieć ku Montjouvain i stronie Méséglise, ale ku spacerom w stronę Guermantes — kiedy sam pragnąłem zostać artystą. Porzucając tę ambicję, czy wyrzekłem się czegoś realnego? Czy życie mogło mnie pocieszyć po sztuce, czy była w sztuce głębsza rzeczywistość, w której nasza prawdziwa osobowość znajduje wyraz, jakiego nie daje jej czynne życie? Każdy wielki artysta wydaje się w istocie tak odmienny od innych i sprawia na nas tak bardzo owo wrażenie indywidualności, którego na próżno szukamy w codziennym istnieniu.

W chwili gdy to myślałem, uderzył mnie jeden takt sonaty. Znałem go bardzo dobrze, ale czasem uwaga inaczej oświetla rzeczy od dawna znane, ukazując nam coś, czegośmy nigdy nie widzieli. Przegrywając ów takt, mimo iż Vanteuil wyrażał w nim marzenie całkowicie obce Wagnerowi<sup>1096</sup>, mimo woli szepnąłem: „Tristan”, z uśmiechem, jaki ma przyjaciel rodziny, odnajdując coś z dziadka w intonacji i geście wnuka, który dziadka nie znał. I tak jak się spogląda wówczas na fotografię pozwalającą ustalić podobieństwo, tak ja na sonacie VinteUILa umieściłem na pulpicie partycję *Tristana*, którego fragmenty dawano właśnie tego popołudnia na koncercie Lamoureux. W podziwieniu dla mistrza z Bayreuth nie przeszkadzało mi żaden skrupuł owych ludzi, którym, jak Nietzschemu<sup>1097</sup>, obowiązek każe uciekać, tak w sztuce, jak w życiu, od piękności, która ich kusi. Tacy, wydzierając się *Tristanowi*, jak zapierają się *Parsifala*<sup>1098</sup>, przez duchową ascezę, z umartwienia w umartwienie, dochodzą, krocząc najkrwawszą drogą krzyżową, do wzniesienia się do czystego poznania oraz do doskonałego ubóstwienia... *Pocztyliona z Longjumeau*<sup>1099</sup>. Zdawałem sobie sprawę ze wszystkiego, co jest realnego w dziele Wagnera, przechodząc owe uparte i ulotne tematy, które nawiedzają jakiś akt, oddalają się jedynie po to, aby wrócić, i czasami odległe, uspięne, prawie oderwane, stają się w innych momentach, mimo iż zamglone, tak natarczywe i bliskie, tak wewnętrzne, tak organiczne, tak wnikać do trzewi, iż można by rzec, że to jest nawrót nie tyle motywu, ile newralgii<sup>1100</sup>.

Muzyka, bardzo w tym różna od towarzystwa Albertyny, pomagała mi zstąpić w samego siebie, odkryć tam nową rzecz: różnorodność, której na próżno szukałem w życiu, w podróży, a której nostalgiją wzniecał we mnie ten dźwięczny nurt zamierający dokoła mnie w słonecznych falach. Różnorodność podwójna. Jak pryzmat uzewnętrznia nam skład światła, tak harmonia Wagnera, kolor Elstira pozwalają nam poznać ową istotę wrażeń innego człowieka, w którą miłość dla drugiej istoty nie daje nam wnikać. Następnie różnorodność w łonie samego dzieła, w jedyny sposób, który pozwala być naprawdę różnym: zjednoczyć różne indywidualności. Gdzie podrzędny muzyk miałby pretensje malować giermka, rycerza, każąc im śpiewać tę samą melodię, tam przeciwnie, pod każde miano Wagner podkłada odmienną rzeczywistość; za każdym razem kiedy się zjawia giermek, jest to odrębna figura, zarazem skomplikowana i prosta, która z radosnym i feudalnym zderzeniem linii wpisuje się w bezmiar dźwięków. Stąd pełnia muzyki nasyconej tyloma rodzajami muzyk, z których każda jest odrębną istotą. Istotą lub wrażeniem, jakie daje nam chwilowy aspekt natury. Nawet to, co jest najmniej zależne od uczuć, jakie ona w nas rodzi, zachowuje swoją zewnętrzną i doskonale określoną realność; śpiew ptaka,

<sup>1096</sup>Wagner, Richard (1813–1883) — niemiecki kompozytor, dyrygent i teoretyk muzyki; reformator muzyki operowej, wprowadził nowy rodzaj dzieła muzyczno-scenicznego: dramat sceniczny (*Lohengrin*, *Tristan i Izolda*, tetralogia *Pierścień Nibelunga*), w którym muzyka i słowa zostały podporządkowane przebiegowi akcji; w 1876 wybudował w mieście Bayreuth własny Teatr Operowy, w którym do dziś odbywa się coroczny festiwal jego dzieł. [przypis edytorski]

<sup>1097</sup>Nietzsche, Friedrich (1844–1900) — niemiecki filozof i filolog klasyczny, jeden z najbardziej wpływowych myślicieli końca XIX i początku XX w.; dokonał radykalnej krytyki chrześcijaństwa i ufundowanej na nim kultury zachodniej; koncentrował się na afirmacji życia i postulował powrót do wartości kultury starożytnej; głosił śmierć Boga (tj. powszechny zanik poczucia obcowania z sacrum), pochwałę woli mocy i nadczłowieka oraz wieczny powrót, hasła często rozumiane opacznie jako nihilistyczne. [przypis edytorski]

<sup>1098</sup>*Parsifal* — dramat muzyczny Ryszarda Wagnera luźno oparty na noszącym ten sam tytuł średniowiecznym poemacie epickim Wolframa von Eschenbacha, którego bohaterem jest jeden z towarzyszy króla Artura, rycerz Okrągłego Stołu, poszukiwacz Graala. [przypis edytorski]

<sup>1099</sup>*Pocztylion z Longjumeau* — popularna francuska opera Adolphe'a Adama z 1836. [przypis edytorski]

<sup>1100</sup>*newralgia* — nerwoból, ból powodowany przez uszkodzenie nerwu. [przypis edytorski]

róg myśliwski, fujarka pasterza znaczą się na horyzoncie dźwięczną sylwetą. Z pewnością Wagner miał ją przybliżyć, posłużyć się nią, wprowadzić ją w orkiestrę, poddać najwyższym koncepcjom muzycznym, ale szanując jej zasadniczą odrębność, jak snyczerz szanuje słoje i swoisty charakter drzewa, w którym rzeźbi.

Ale mimo bogactwa tych dzieł, w których kontemplacja natury mieści się obok akcji, obok indywidualów nie będących jedynie imionami osób, zastanawiałem się, jak bardzo jednak owe dzieła zachowują — przy całej ich cudowności — coś niekompletnego. To jest cecha wszystkich wielkich dzieł XIX wieku, owego XIX wieku, który odcisnął się na książkach największych pisarzy; ale kontrolując swoją pracę niby pracownik i sędzia zarazem, wyciągnęli z tej autokontemplacji nową piękność, będącą poza dziełem i wyższą od niego, narzucając mu — wstecz niejako — jedność i wielkość, których ono nie posiada. Nie mówiąc już o twórcy, który ujrzał *ex post*<sup>1101</sup> w swoich powieściach *Komedię ludzką*<sup>1102</sup>, ani o tych, którzy nazwali swoje różnorodne poematy lub studia *Legendą wieków*<sup>1103</sup> lub *Biblią ludzkości*<sup>1104</sup>, czyż nie można jednak powiedzieć o tym właśnie, o Michelecie, iż wcielił wiek XIX tak dobrze, że największych piękności Micheleta nie tyle trzeba szukać w samym jego dziele, ile w postawie przybranej wobec dzieła; nie w *Historii Francji* ani w *Historii Rewolucji*, ale w przedmowach do własnych książek. Przedmowy, to znaczy stronicie napisane *ex post*, gdzie rozważa te książki, a do przedmów trzeba dołączyć tu i ówdzie jakieś zdanie, zaczynające się zwykle od: „Mamż powiedzieć” — nie zastrzeżenie uczonego, lecz kadencja muzyka. Inny muzyk, ten, który mnie zachwycał w danej chwili, Wagner, wydobywając z biurka rozkoszny fragment po to, aby go wprowadzić jako retrospektywnie konieczny temat w dzieło, o którym nie myślał, w chwili gdy ów fragment komponował; następnie skomponowawszy pierwszą operę mitologiczną, potem drugą, potem jeszcze inne i spostrzegając nagle, że stworzył tetralogię, musiał doznawać tego samego upojenia, co Balzac, kiedy obejmując swoje utwory obcym i ojcowskim zarazem spojrzeniem, znajdując w jednym czystość Rafaela<sup>1105</sup>, w innym prostotę Ewangelii, spostrzegł nagle, w retrospektywnym oświeceniu, że będą piękniejsze zebrane w cykl powtarzający te same osoby; jakoż w tym zagęszczeniu dał swemu dziełu ostatnie i najwspanialsze dotknięcia pędzla. Jedność wtórna, ale nie sztuczna, bo inaczej rozpadłaby się w proch, jak tyle cykliów miernych pisarzy, którzy z wielkim nakładem tytułów i podtytułów udają, że mieli jedyny i transcendentny cel. Jedność nieurojona, może nawet realniejsza przez to, że wtórna, że się urodziła z chwili entuzjazmu, w której wyłoniła się z części wymagających już tylko spojenia. Jedność, która nie znała samej siebie, zatem witalna, a nie logiczna; która nie wykluczyła różnaitości, nie ostudziła wykonania. Wyłania się ona (ale tym razem spojona z całością) jako jakiś fragment skomponowany oddzielnie, zrodzony z natchnienia, nie wymuszony sztucznym rozwinięciem jakiejś tezy, zrastający się z resztą. Przed wielkim wybuchem orkiestry poprzedzającym powrót Izoldy dzieło samo przyciągnęło wpół zapomnianą melodię pasterza. I z pewnością, jak narastanie orkiestry za zbliżaniem się statku wchłania tony fujarki, przekształca je, wtapia w swoją ekstazę, łamie ich takt, rozjaśnia tonację, przyspiesza rytm, bogaci instrumentację, tak z pewnością sam Wagner uczył radość, odnajdując w pamięci melodię pasterza, wcielając ją w dzieło, dając jej pełne znaczenie. Ta radość nie opuszcza go zresztą nigdy. Jaki bądź byłby u niego smutek poety, zawsze pociesza go, przewyższa — to znaczy, na nieszczęście, szybko niweczy — radość technika. Ale wówczas uderzyła mnie ta majsterska sprawność, podobnie jak zauważona przed chwilą identyczność frazy Vinteuila z frazą Wagnera. Czyżby ta sprawność dawała u wielkich artystów złudzenie oryginalności całkowitej, nieogarnionej na pozór, odbłask ponadludzkiej realności, a w istocie produkt

<sup>1101</sup>*ex post* (łac.) — po fakcie, później, z późniejszej perspektywy. [przypis edytorski]

<sup>1102</sup>*Komedia ludzka* — cykl powieści i opowiadań francuskiego pisarza Honoriusza Balzaka składający się z ponad 130 utworów, pokazujący życie społeczne, polityczne i obyczajowe we Francji od czasów rewolucji francuskiej do rządów Ludwika Filipa, pisany w latach 1829–1848. [przypis edytorski]

<sup>1103</sup>*Legenda wieków* — poemat Wiktora Hugo, pisany w latach 1855–1876, który w planach autora miał opisywać całą historię ludzkości, postępu cywilizacyjnego i przemian społecznych. [przypis edytorski]

<sup>1104</sup>*Biblia ludzkości* — fr. *La Bible de l'humanité* (1864), szkic poświęcony historii porównawczej religii, autorstwa Julesa Micheleta (1798–1874), francuskiego historyka cenionego przede wszystkim za dzieła *Historia Francji* (1833–1867) oraz *Historia rewolucji francuskiej* (1847–1853). [przypis edytorski]

<sup>1105</sup>*Rafaël Santi* (1483–1520) — włoski malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu. [przypis edytorski]



przemysłnej pracy? Jeżeli sztuka jest tylko tym, nie bardziej realna jest od życia i nie miałem powodu tyle jej żałować!

Dalej grałem *Tristana*. Oddzielony dźwięczną ścianką od Wagnera, słyszałem, jak się raduje, jak mnie zaprasza, abym dzielił jego radość, słyszałem, jak się powtarza nieśmiertelnie młody śmiech i ciosy Zygfydowego<sup>1106</sup> młota, w których zresztą, im cudowniej wykute były te frazy, techniczna zręczność służyła już tylko po to, aby im pozwolić swobodnie opuścić ziemię, niby ptakom podobnym nie do Lohengrinowego<sup>1107</sup> łabędzia, ale do owego samolotu, który w moich oczach w Balbec zmieniał swoją energię we wzlot, szybował ponad fale i gubił się w niebie. Może jak ptaki latające najwyżej i najszybciej mają potężniejsze skrzydła, tak trzeba by owych naprawdę materialnych aparatów, aby zgłębić nieskończoność: owych studwudziestokonnnych maszyn marki „Tajemnica”, w których jednak, choćby się najwyżej szybowało, w kosztowaniu ciszy bezkresów przeskadza nam potężne warczenie motoru!

Nie wiem, czemu bieg moich rojeń, dotąd idący za wspomnieniem muzyki, odwrócił się ku jej najlepszym współczesnym wykonawcom, między którymi, przeceniając go nieco, mieściłem Morela. Myśl moja skręciła nagle; zacząłem myśleć o charakterze Morela, o pewnych właściwościach tego charakteru. Zresztą — mogło się to łączyć (ale nie mieszać) z neurastenią, która go toczyła — Morel miał zwyczaj mówić o swoim życiu, ale tak mgliście, że trudno było coś rozpoznać. Oddawał się na przykład całkowicie do rozporządzenia panu de Charlus, zastrzegając sobie wolne wieczory, bo chciał po obiedzie uczęszczać na kurs algebry. Pan de Charlus zgadzał się, ale chciał widywać Morela potem.

— Niemożliwe, to stary obraz włoski — powtórzony w ten sposób, żarcik ten nie ma żadnego sensu; ale ponieważ pan de Charlus dał Morelowi do czytania *L'Éducation sentimentale* Flauberta<sup>1108</sup>, gdzie w przedostatnim rozdziale Fryderyk Moreau mówi te słowa, przez żart Morel nigdy nie użył słowa „niemożliwe”, aby nie dodać: „to stary obraz włoski”. — Kurs trwa do późna, i to już jest wielki kłopot dla profesora, który byłby oczywiście bardzo dotknięty.

— Ależ nie ma potrzeby przechodzić kursu; algebra to nie jest pływanie ani nawet angielszczyzna, tego się można nauczyć równie dobrze z książki — odpowiadał pan de Charlus, w kursie algebry odgadując natychmiast jeden z owych obrazów, w których nie można było zgoła nic rozpoznać. Może były to noce z kobietą, albo — w razie jeżeli Morel starał się zdobywać pieniądze mętnymi środkami i przystał do tajnej policji — wyprawa z tajnymi agentami, lub kto wie, gorzej jeszcze, schadzka z żigolakiem<sup>1109</sup>, którego udział może był potrzebny w domu schadzek.

— Nawet o wiele łatwiej z książki — odpowiadał Morel — z kursu algebry nic się nie rozumie.

— Zatem czemu nie studiujesz jej raczej u mnie, gdzie by ci było o tyle wygodniej — mógłby odrzec pan de Charlus, ale nie uczynił tego, wiedząc, że natychmiast, zachowując jedynie tę samą despotyczną nieodzowność, urojona algebra zmieniałaby się w lekcję tańca lub rysunku. W czym pan de Charlus mógł się przekonać, że się myli bodaj o tyle, że Morel nieraz bawił się u barona rozwiązywaniem równań. Pan de Charlus bąknął co prawda, że algebra nie na wiele zda się skrzypkowi. Morel odpowiedział, że to jest dobra rozrywka i lekarstwo na neurastenię. Bez wątplenia pan de Charlus mógłby się postarać o informację, dowiedzieć się, co to były w istocie te tajemnicze i nieuchronne kursy algebry udzielane tylko w nocy. Ale na to, aby odcyfrowywać zajęcia Morela, pana de Charlus nazbyt pochłaniały obowiązki światowe. Składanie i przyjmowanie wizyt, klub,

<sup>1106</sup>Zygfyd — legendarny germański heros, zabójca smoka, tytułowy bohater trzeciej części dramatu muzycznego Ryszarda Wagnera *Pierścień Nibelunga*. [przypis edytorski]

<sup>1107</sup>Lohengrin — Rycerz Łabędzia, postać z legend arturiańskich, syn Parsifala, wysłany w łodzi ciągniętej przez łabędzia, by ocalić pannę, która nie może zapytać Lohengrina o jego tożsamość; szerzej znany jako tytułowy bohater romantycznej opery Wagnera z 1850, w której Graal napelnia Rycerza Łabędzia mistycznymi mocami, działającymi tak długo, jak długo udaje się zachować ich sekret. [przypis edytorski]

<sup>1108</sup>Flaubert, *Gustave* (1821–1880) — pisarz francuski, twórca prozy z nurtu realizmu, uważany też za jednego z pierwszych przedstawicieli naturalizmu; autor m.in. powieści: *Pani Bovary* (1857), *Salambo* (1862), *Szkola uczuć* (*L'Éducation sentimentale*, 1869), *Kuszenie św. Antoniego* (1874). [przypis edytorski]

<sup>1109</sup>żigolak — młody mężczyzna czerpiący korzyści materialne z dotrzymania towarzystwa lub ze stosunków ze starszą, zamożną osobą. [przypis edytorski]

obiady, teatr przeszkadzały mu myśleć o tym, zarówno jak o tej gwałtownej i podstępnej złości, którą Morel (jak opowiadano) objawiał i skrywał zarazem w różnych środowiskach, w miastach, gdzie gościł kolejno i gdzie mówiono o nim ze drżeniem, z cicha, nie śmiejąc nic opowiedzieć.

Właśnie, niestety, jeden z owych wybuchów neurastenicznej furii dane mi było słyszeć tego dnia, kiedy wstawszy od fortepianu, zeszedłem na dziedziniec, wybierając się naprzeciw Albertyny. Mijając sklep Jupiena, gdzie Morel i ta, która, jak sądziłem, miała zostać niedługo jego żoną, byli sami, usłyszałem Morela, który krzyczał na cały głos, z akcentem, którego u niego nie znałem. Ten chłopski, zazwyczaj powściągnięty akcent był bardzo dziwny. Słowa były nie mniej dziwne, błędne z punktu widzenia francuszczyzny, ale Morel wszystko znał niedokładnie. „Wyjdiesz ty stąd, ździro zatracena, ździro zatracena, ździro zatracena” — powtarzał biednej dziewczynie, która z pewnością z początku nie rozumiała, co on mówi, a potem, drżąca i dumna, stała przed nim bez ruchu. — „Mówiłem ci, żebyś szła stąd, ździro zatracena, ździro zatracena! Sprowadź tu wuja, żebym mu powiedział, kto ty jesteś, k...o jedna”. Właśnie w tej chwili rozległ się w dziedzińcu głos Jupiena, który wracał, rozmawiając z jednym z przyjaciół; że zaś wiedziałem, iż Morel jest wielki tchórz, uważałem za zbyteczne łączyć swoje siły z siłami Jupiena i jego przyjaciela, którzy za chwilę mieli się znaleźć w sklepie. Wróciłem, aby uniknąć spotkania się z Morelem, który mimo iż rzekomo tak pragnął, aby sprowadzono Jupiena (prawdopodobnie chcąc nastraszyć i opanować młodą dziewczynę szantażem, nieopartym może na niczym), czym prędzej wyszedł, skoro go usłyszał w dziedzińcu. Takie powtórzone słowa nie oddają niczego, nie wytłumaczyłyby bicia serca, z jakim wracałem. Owe sceny, których jesteśmy świadkami w życiu, znajdują nieobliczalny element siły w tym, co wojskowi nazywają w ofensywie „korzyściami zaskoczenia”. Mimo iż odczuwałem taki spokój na myśl, że Albertyna zamiast zostać w Trocadéro znajdzie się za chwilę przy mnie, brzmiał mi w uszach akcent tych słów, powtarzających dziesięć razy: „Ździro zatracena, ździro zatracena” — słów, które mną wstrząsnęły.

Stopniowo wzburzenie moje uspokoiło się. Albertyna miała wrócić. Za chwilę usłyszę jej dzwonek. Uczulem, że moje życie nie jest już takie, jakim mogłoby być. Takie posiadanie kobiety, z którą całkiem naturalnie, skoro powróci, miałem wyjść; na której upiększenie miały się coraz bardziej obracać moje siły i moja energia, czyniło ze mnie niby lodygę rozrosłą, ale obciążoną bujnym owocem wysysającym wszystkie jej soki. Tworzyło to kontrast z niepokojem odczuwanym jeszcze przed godziną: spokój przyniesiony powrotem Albertyny rozleglejszy był od tego, który czulem rano przed jej wyjściem. Wyprzedzający przyszłość, której uległość mojej przyjaciółki czyniła mnie niemal panem, odporniejszy, wypełniony niejako i ustabilizowany zbliżającą się, niewczesną, nieuniknioną i słodką obecnością, spokój ten (zwalniający nas od szukania szczęścia w sobie samym) był spokojem rodzącym się z uczuć rodzinnych i ze szczęścia domowego. Rodzinne i domowe: oto było uczucie, które dawało mi tyle spokoju, podczas gdym oczekiwałem Albertyny; i takiego też uczucia doznawałem później, jadąc z nią na spacer.

Zdjęła na chwilę rękawiczkę, czy aby dotknąć mojej ręki, czy aby mnie olśnić, ukazując na małym palcu, obok pierścionka danego jej przez panią Bontemps, pierścionek, na którym rozpościerała się szeroka i płynna powierzchnia jasnego liścia rubinu.

— Jeszcze nowy pierścionek, Albertyno. Doprawdy, hojność twojej ciotki jest niewyczerpana!

— Nie, to nie od ciotki — rzekła, śmiejąc się. — To ja sama kupiłam; dzięki tobie mogę robić grube oszczędności. Nie wiem nawet, do kogo należał. Podróżny, któremu zabrakło pieniędzy, zostawił go właścicielowi hotelu, gdzie stanęłam w Le Mans. Nie wiedział, co z nim robić, i byłby go sprzedał o wiele poniżej wartości. Ale był jeszcze i tak za drogi dla mnie. Teraz, kiedy dzięki tobie robię się elegantką, kazałam spytać hotelarza, czy ma jeszcze pierścionek. I oto jest.

— Dużo masz tych pierścionków, Albertyno. Na jaki palec włożysz ten, który dostaniesz ode mnie? W każdym razie ten jest bardzo ładny; nie mogę dobrze dojrzeć cyzeloowań dokoła rubinu; rzekłby ktoś, wykrzywiona twarz ludzka. Ale to nie na mój wzrok.

— Choćbyś miał i najlepszy, niewiele by ci pomogło. Ja także nie mogę poznać.

Niegdyś, kiedy czytałem jakieś pamiętniki, powieść, gdzie mężczyzna towarzyszy wszędzie kobiecie, chodzi z nią na podwieczorki, często pragnąłem móc robić to samo. Zdało mi się niekiedy, że to osiągam; kiedy na przykład towarzyszył kochance Roberta, kiedy z nią chodziłem na obiad. Ale daremnie wzywałem na pomoc myśl, że gram w tej chwili rolę, której zazdrościłem w powieści; ta myśl przekonywała mnie, że powinienem czuć przyjemność w towarzystwie Racheli, ale nie dawała mi jej. Bo za każdym razem kiedy chcemy naśladować coś, co było naprawdę rzeczywiste, zapominamy, że owo coś zrodziło się nie z chęci naśladowania, ale z nieświadomej i również realnej siły. Otóż tego specjalnego wrażenia, którego nie mogła mi dać cała moja chęć odczuwania subtelnej rozkoszy w spacerze z Rachelą, doznawałem teraz, nie szukając go zgoła, ale z przyczyn zupełnie odmiennych, szczerych, głębokich; na przykład z tego powodu, że zazdrość moja nie pozwalała mi być daleko od Albertyny i o ile mogłem wychodzić, puścić jej na spacer beze mnie. Odczuwałem to dopiero teraz, dlatego że świadomość tworzy się nie z obserwowanych przez nas rysów zewnętrznych, ale z bezwiednych wrażeń; dlatego że niegdyś kobieta, nawet siedząc obok mnie w powozie, nie była w „rzeczywistości” obok mnie, o ile nie odtwarzała jej tam w każdej chwili moja potrzeba — taka, jaką odczuwałem w stosunku do Albertyny; o ile nieustanna pieśczość mego spojrzenia nie przywracała jej wciąż barw wymagających ustawicznej odnowy, o ile zmysły, nawet ukojone, ale pamiętające, nie dawały tym kolorom soczystości i konsystencji; o ile zazdrość — zespolona ze zmysłami i z podniecającą je wyobraźnią — nie utrzymywała tej kobiety przy mnie w równowadze siłą przyciągania równie potężnego jak prawo ciężenia.

Powóz jechał szybko przez bulwary, aleje, w których ciągnące się domy, różowy skrzep światła i zimna, przypominały mi wizyty u pani Swann, łagodnie oświetlonej przez złoćnienie w oczekiwaniu pory zapalania lamp.

Ledwie miałem czas spostrzec — oddzielony od nich szybą auta niby oknem w swoim pokoju — młodą owocarkę, mleczarkę stojącą przed drzwiami, lśniąca w tym pogodnym dniu niby heroina, którą pragnienie moje zdolne było wciągnąć w rozkoszne perypetie u progu romansu. Tego romansu nie miałem poznać. Bo nie mogłem poprosić Albertyny, abyśmy się zatrzymali; i już znikły młode kobiety. Oczy moje ledwie rozróżniły ich rysy i ledwie upieściły ich świeżość w złotawej mgle, w której były skąpane. Wzruszenie, jakie mnie ogarniało na widok córki winiarza przy kasie lub młodej praczki gwarzącej na ulicy, było wzruszeniem, jakie człowiek odczuwa poznając Boginię. Od czasu jak Olimp nie istnieje, mieszkańcy jego żyją na ziemi. Tworząc mitologiczne obrazy, malarze brali za modele do Wenus<sup>1110</sup> lub do Cerery<sup>1111</sup> dziewczęta z ludu uprawiające najpospolitsze rzemiosła; i wówczas, dalecy od popełnienia świętokradztwa, przydali im jedynie — lub przywrócili — ich właściwości i poszczególne atrybuty, z których je wyzuto.

— Jak ci się podobało Trocadéro, ty mała wariatko?

— Wściekle jestem kontenta, że ci je puściła kaniem, aby być z tobą. Jako budynek to dosyć plugawe, prawda? To Davioud<sup>1112</sup>, zdaje się?

— Ależ moja Albertynka się kształci! W istocie, to Davioud, ale zapomniałem o tym.

— Kiedy ty śpisz, ja czytam twoje książki, leniuchu.

— Słuchaj, mała, doprawdy, ty się zmieniasz tak prędko i stajesz się taka inteligentna — to była prawda, ale poza tym chciałem, aby w braku innych satysfakcji Albertyna mogła sobie powiedzieć, iż czas spędzony u mnie nie jest dla niej tak całkiem stracony — że zwierzyłbym ci w potrzebie rzeczy, powszechnie uznane za fałsz, a odpowiadające prawdzie, której szukam. Czy wiesz, co to jest impresjonizm?

— Doskonale.

— A więc oto co chcę powiedzieć. Przypominasz sobie kościół w Marcouville l'Orgueilleuse, którego Elstir nie lubił, bo był nowy. Czy Elstir nie sprzeniewierza się własnemu impresjonizmowi, wyjmując te budowle z ogólnego wrażenia, w którym są zawarte, aby je wydobyć poza światło, w którym są roztopione i badać na kształt archeologa ich swoistą wartość? Kiedy maluje, czyż szpital, szkoła, afisz na murze nie mają w całości obrazu tej

<sup>1110</sup>Wenus (mit. rzym.) — bogini miłości i piękna, odpowiednik greckiej Afrodyty. [przypis edytorski]

<sup>1111</sup>Ceres a. Cerera (mit. rzym.) — bogini wegetacji i urodzaju, matka Prozerpiny; utożsamiana z grecką Demeter. [przypis edytorski]

<sup>1112</sup>Davioud, Gabriel (1823–1881) — francuski architekt, projektant wielu paryskich budynków użyteczności publicznej. [przypis edytorski]

samej wartości co bezcenna katedra obok? Przypominasz sobie, jak fasada była wypalona słońcem, jak płaskorzeźba ze świętymi w Marcouville pływała w świetle? Cóż szkodzi, że budowla jest nowa, jeżeli się wydaje stara, a nawet jeśli się nie wydaje? Wyciśnięto do ostatniej kropli zawartość poezji ukrytą w starych dzielnicach, ale pewne domy, świeżo wzniesione dla bogatych mieszczuchów, w nowych dzielnicach, z nazbyt białego i świeżo obrobionego kamienia, czyż nie rozdzierają skwarne lipcowego południa, w porze gdy ludek wraca na śniadanie, krzykiem równie ostrym jak zapach wiśni, zanim podadzą śniadanie w jakiejś mrocznej jadalni, gdzie szklane pryzmaty służące za podstawkę na noże rzucają różnokolorowe ognie równie piękne jak witraże w Chartres<sup>1113</sup>?

— Jakiś ty kochany! Jeżeli się zrobię inteligentna, to dzięki tobie.

— Czemu w piękny dzień odwracać oczy od Trocadéro, którego wieże w kształcie szyi żyrafy przywodzą na myśl pustelnię w Pawii?

— To Trocadéro sterczące na wzgórzu przypomniało mi także reprodukcję Mantegnyny<sup>1114</sup>, która jest u ciebie; zdaje się, że to święty Sebastian, gdzie w głębi jest amfiteatralnie wnoszące się miasto i gdzie można by przysiąc, że znajduje się Trocadéro.

— Widzisz! Ale jakim cudem ty znalazłaś reprodukcję Mantegnyny? Jesteś niesłuchana!

Przybyliśmy w dzielnicę bardziej ludowe, gdzie obecność Wenus służebnej za każdą ladą czyniło z lady niby podmiejski ołtarz, u którego stóp rad byłbym spędzić życie.

Tak jak się czyni w wilię przedwczesnej śmierci, sporządzałem bilans przyjemności, których mnie pozbawia granica, jaką Albertyna kładzie mojej wolności. W Passy młode dziewczęta, obejmujące się w pół na środku ulicy zapchanej ludźmi, oczarowały mnie swoim uśmiechem. Nie zdążyłem dokładnie rozróżnić tego uśmiechu, ale mało prawdopodobne było, abym go podchwycił, w każdym bowiem tłumie, w każdym młodym tłumie nierzadko spotka się medalion o szlachetnym profilu. Tak iż te tłumy ludu w święto są dla amatora rozkoszy równie cenne jak dla archeologa rozkopana ziemia, z której motyka dobywa starożytny medale.

Wjechaliśmy do Lasku. Myślałem, że gdyby Albertyna nie wybrała się ze mną, mógłbym w tej chwili w Cirque des Champs-Élysées<sup>1115</sup> posłyszeć wagnerowską burzę jęczącą wszystkimi linami orkiestry, gdy przyciąga do siebie, niby lekką pianę, melodię pastuszą, którą przegrywałem sobie świeżo, gdy ją wzbija w powietrze, ugniata, zniekształca, dzieli, porywa w rosnącym wirze. W każdym razie pragnąłem skrócić naszą przejażdżkę i wrócić wcześniej, bo nie wspominając o tym Albertynie, postanowiłem iść wieczorem do Verdurinów. Przesłali mi zaproszenie, które wraz z innymi rzuciłem do kosza. Ale zmieniłem zamiar na ten wieczór, bo chciałem sprawdzić, kogo Albertyna spodziewała się spotkać u nich po południu. Prawdę mówiąc, doszedłem z Albertyną do tego punktu, kiedy o ile wszystko idzie prawidłowo, w normalnym trybie, kobieta służy nam już tylko za przejście do innej kobiety. Trzyma nas jeszcze za serce, ale mało; pilno nam spieszyć co wieczora, aby spotkać nieznaną, a zwłaszcza nieznaną, którą ona zna, zdolne opowiedzieć nam jej życie. Co do niej samej, posiedliśmy ją już, wyczerpaliśmy wszystko, co zechciała nam oddać z siebie. Jej życie to jeszcze ona sama, ale właśnie ta część, której nie znamy, rzeczy, o które próżnośmy ją pytali i które zdołamy zebrać na nowych ustach.

Jeżeli moje życie z Albertyną miało mnie pozbawić Wenecji, podróży, mógłbym choć teraz, gdybym był sam, poznać młode midinetki rozsypane w blasku słonecznym tej pięknej niedzieli, istoty, których piękność tkwiła dla mnie w znacznej mierze w ożywiającyim je nieznanym życiu. Czyż oczy, które widzimy, nie są przeniknione spojrzeniem, którego obrazów, wspomnień, nadziei, wzgard, zawartych w tym spojrzeniu i od niego nieodłącznych — nie znamy? Owa egzystencja, będąca życiem przechodzącej istoty, czyż nie zmienia — zależnie od tego, czym jest — wartości zmarszczenia tych brwi, rozdęcia nozdrzy? Obecność Albertyny pozbawiała mnie możliwości podejścia do nich i może

<sup>1113</sup>Chartres — miejscowość we Francji, słynna ze średniowiecznej gotyckiej katedry z XII–XIII w., w której znajduje się ponad 160 kolorowych witraży o łącznej powierzchni 2600 m<sup>2</sup>. [przypis edytorski]

<sup>1114</sup>Mantegna, Andrea (ok. 1431–1506) — włoski malarz i rytownik; autor m.in. trzech obrazów ukazujących męczeństwo św. Sebastiana, przywiązane do kolumny i przeszytego strzałami: na dwóch z nich, znajdujących się w muzeach w Wiedniu i w Luwrze, na dalekim planie artysta umieścił położone na wzgórzu miasto. [przypis edytorski]

<sup>1115</sup>Cirque des Champs-Élysées — teatr na Polach Elizejskich w Paryżu, cieszący się powodzeniem do lat 80. XIX w., zburzony ok. roku 1900. [przypis edytorski]

uwolnienia się w ten sposób od pokusy. Ten, kto chce podtrzymać w sobie żądzę życia oraz wiarę w coś rozkoszniejszego niż rzeczy zwyczajne, powinien chodzić na spacer; ulice bowiem, aleje pełne są Bogiń. Ale Boginie nie pozwalają zbliżyć się do siebie. Tu i ówdzie, wśród drzew, u wejścia do kawiarni, służąca czuwała jak nimfa u wstępu do świętego gaju, podczas gdy w głębi trzy młode dziewczyny siedziały obok olbrzymiego łuku swoich bicyklów<sup>1116</sup> stojących koło nich, niby trzy Nieśmiertelne wsparte łokciem o chmurę lub o bajecznego bieguna<sup>1117</sup>, na których spełniają swoje mitologiczne podróże. Zauważyłem, że za każdym razem kiedy Albertyna przez chwilę popatrzyła na te dziewczęta, oczy ich z głęboką uwagą natychmiast zwracały się ku mnie. Ale ani nasilenie tej kontemplacji, ani jej krótkość wyrównana nasileniem nie dręczyły mnie zbyt; w istocie, zdarzało się często, że Albertyna, czy pod wpływem zmęczenia, czy że ten sposób patrzenia właściwy jest istocie z natury uważnej, przyglądała się tak jakby w zadumie, bądź mojemu ojcu, bądź Franciszce; co zaś do szybkości, z jaką zwracała się ku mnie, mogła wynikać z faktu, że Albertyna, znając moje podejrzenia, chciała (nawet gdyby nie były uzasadnione) uniknąć dania im pozorów. Z tą samą zresztą uwagą, która wydałaby mi się występna u Albertyny (również gdyby jej przedmiotem byli młodzi ludzie), ja sam spoglądałem na wszystkie midinetki, nie czując się ani przez chwilę winny, niemal mając pretensję do Albertyny, że swoją obecnością przeszkadza mi zatrzymać się i podejść do nich. Uważamy za niewinne to, że my pożądamy, a za okrutne, że ktoś inny pożąda. I ten kontrast między tym, co się tyczy nas, a tym, co się tyczy ukochanej istoty, odnosi się nie tylko do pożądania, ale i do kłamstwa. Cóż zwykleszego niż kłamstwo, czy chodzi na przykład o zamaskowanie codziennych niedomagań gdy chcielibyśmy uchodzić za zdrowych, o ukrycie jakiejś przywary lub o pójście za swoją ochotą bez urażenia drugiej osoby? Kłamstwo jest najpotrzebniejszym i najpowszechniejszym narzędziem instynktu samozachowawczego. I oto właśnie kłamstwo chcielibyśmy wygnąć z życia istoty, którą kochamy, to kłamstwo szpiegujemy, węszymy, tępimy wszędzie! Oburza nas ono, wystarczy, aby spowodować zerwanie, zdaje się nam kryć największe winy, o ile ich nie kryje tak dobrze, że ich nie podejrzewamy. Szczególny to stan, ta nasza przesadna wrażliwość na czynnik chorobowy, dzięki swojej wszechobecności nieszkodliwy dla drugich, a tak groźny dla nieszczęśnika pozbawionego odporności przeciw niemu.

Życie tych ładnych dziewcząt (wskutek mego długiego zamknięcia spotykanych tak rzadko) wydawało się — zarówno jak wszystkim tym, w których łatwość realizacji nie stępiała wyobraźni — czymś równie odmiennym od tego, co znałem, równie upragnionym co najcudowniejsze miasta marzonej podróży.

Zawód doznany przy kobietach, które poznałem, w miastach, które zwiedziłem, nie przeszkadzał mi brać się na urok nowych kobiet i wierzyć w ich realność; toteż tak samo jak ujrzeć Wenecję — Wenecję, której nostalgii budziła we mnie wiosna, a której nie pozwoliliby mi poznać małżeństwo z Albertyną — ujrzeć Wenecję w panoramie, którą Ski uznałby może za piękniejszą w tonie od prawdziwej, nie zastąpiłoby mi w niczym podróży, której czas, określony bez mojego udziału, zdawał mi się nieodzowny do przebycia, tak samo midinetka, bodaj najpiękniejsza, ale sztucznie dostarczona przez stręczycielkę, nie mogłaby się wcielić dla mnie w tę, która kołysząc się niedbale, przechodziła w tej chwili pod drzewami, śmiejąc się z przyjaciółką. Choćby inna, spotkana w domu schadzek, była ładniejsza, to by nie było to samo, bo na oczy nieznaną dziewczynę nie patrzymy tak, jakbyśmy patrzyli na opalową lub agatową płytkę. Wiemy, że promyk, który ją iryzuje<sup>1118</sup>, lub błyszczące ziarenka, które w nich migocą, są wszystkim, co możemy ujrzeć z myśli, z woli, z pamięci przechowującej dom rodzinny, którego nie znamy, przyjaciół, którym zazdrościmy. Chęć owdzielenia tym wszystkim, tak trudnym, tak opornym — oto co daje wartość spojrzeniu o wiele bardziej niż sama jego materialna piękność (czym by się może tłumaczyło, że jakiś młody człowiek rozpali wyobraźnię kobiety, która usłyszała, że to jest księżę Walii, a ta sama kobieta nie zwróci już nań uwagi, dowiedziawszy się, że się pomyliła). Spotkać midinetkę w domu schadzek znaczy znaleźć ją wyzutą z owego nieznanego życia, które ją przenika i które pragniemy przez nią osiąść; znaczy zbliżyć się do oczu zmienionych w istocie w zwykłe drogie kamienie; do nosa, którego fałdka jest

<sup>1116</sup>bicykl — nazwa pierwszych rowerów. [przypis edytorski]

<sup>1117</sup>biegun — tu: koń, wierzchowiec. [przypis edytorski]

<sup>1118</sup>iryzować (z gr. *iris*: tęcza) — mienić się barwami tęczy; powodować tęczową grę barw. [przypis edytorski]

równie bez znaczenia jak fałdka kwiatu. Nie, o ile bym chciał nadal wierzyć w realność tej nieznaney i przechodzącej opodal midinetki, uważałem za nieodzowne wypróbować jej opór, mierząc z nim moje intencje, narażając się na afronty, wracając do ataku, uzyskując schadzkę, wyczekując pod magazynem, poznając szczegół po szczególe to, co składało życie tej dziewczyny, przenikając to, w co spowija się dla niej przyjemność, której szukam, i dystans, jaki jej rozmaite nawyki i jej swoiste życie pomieściłyby między mną a przywilejem, który chciałbym uchwycić i zdobyć; to było równie nieodzowne co odbyć długą podróż kolejną, o ile chciałem wierzyć w realność Wenecji, ujranej naprawdę i nie będącej jedynie panoramą z Wystawy.

Ale właśnie te podobieństwa między pożądanym a podróżą sprawiły, że sobie przyrzekłem zgłębić kiedyś naturę tej siły niewidzialnej, ale równie potężnej jak wiara lub, jak w świecie fizycznym, ciśnienie atmosferyczne; siły, która wznosiła tak wysoko miasta, kobiety, dopóki ich nie znałem, a ulatniała się, skoro tylko zbliżyłem się do nich, dając im natychmiast opaść w płaską i pospolitą rzeczywistość.

Nieco dalej inna dziewczyna, klęcząc, poprawiała coś koło bicyklu. Dokończywszy reparacji, młoda cyklistka siedała na rower, ale nie okraczając go po męsku. Przez chwilę rower kołysał się, a młode ciało zdawało się poszerzone o żagiel, o olbrzymie skrzydło; niebawem ujrzelśmy oddalającą się pędem młodą istotę półludzką, półskrzydlatą, anioła czy wróżkę *peri*<sup>1119</sup> biegnącą w dal.

Oto czego mnie pozbawiało pożycie z Albertyną. Czego mnie pozbawiało? Czyż nie należało mi myśleć: czym właśnie mnie darzyło? Gdyby Albertyna nie żyła ze mną, gdyby była wolna, wyobrażałbym sobie — i słusznie — wszystkie te kobiety jako możliwe i prawdopodobne przedmioty jej pożądania, jej rozkoszy. Jawiłyby mi się niby tancerki, które w diabolicznym balecie, wyobrażając dla jednej istoty Pokusę, przeszywają strzałami serce innej istoty. Midinetki, młode dziewczyny, aktorki — jakże bym ich nienawidził! Stając mi się przedmiotem wstępu, byłyby dla mnie wyłączone z powszechnej piękności. Niewola Albertyny, pozwalając mi nie cierpieć przez nie, zwracała je piękności świata. Nieszkodliwe, straciwszy żądło zatruwające serce zazdrością, istoty te pozwalały mi się podziwiać, pieścić się spojrzeniem — kiedyś może bardziej z bliska. Więząc Albertynę, przywróciłem wszechświatu wszystkie owe mieniające się skrzydła szeleszczące na promenadach, balach, w teatrach; znów stawały się dla mnie kuszące, bo nie mogły ulec swojej pokusie. Tworzyły piękność świata. Stworzyły niegdyś piękność Albertyny. Wydawała mi się cudowna, dlatego że ją ujrzałem jako tajemniczego ptaka, potem jako wielką aktorkę plaży, upragnioną, posiadaną może. Uwieszony u mnie, ten ptak, któremu ujrzałem pewnego wieczora przechadzającego się miarowym krokiem po promenadzie, w gromadce dziewcząt podobnych mewom przybyłym nie wiadomo skąd, ta Albertyna straciła wszystkie kolory wraz z wszystkimi widokami innych na jej posiadanie. Straciła stopniowo swoją piękność. Trzeba było spacerów takich jak ten, kiedy ją sobie wyobrażałem bez mnie, nagabywaną przez jakąś kobietę lub przez młodego człowieka, abym ją znów ujrzałem w blasku plaży, mimo iż zazdrość moja znajdowała się na innej płaszczyźnie niż schyłek rozkoszy mojej wyobraźni. Ale mimo tych nagłych zrywów, kiedy pożądana przez innych Albertyna znów stawała mi się piękna, mogłem wyraźnie podzielić jej pobyt u mnie na dwa okresy: pierwszy, w którym była jeszcze (mimo iż z każdym dniem coraz mniej) olśniewającą aktorką plaży; drugi, kiedy stawszy się szarym więźniem, sprowadzona do bezbarwnej siebie samej, aby odzyskać swoje barwy, potrzebowała owych błyskawic, w których przypominałem sobie przeszłość.

Czasem, w godzinach gdy mi była najobojętniejsza, nawiedzało mnie wspomnienie odległej chwili, kiedy na plaży — wówczas gdy jej nie znałem jeszcze — niedaleko jakiejś damy, z którą byłem bardzo źle, a z którą (byłem tego prawie pewny teraz) ona utrzymywała stosunki, Albertyna wybuchła śmiechem, patrząc na mnie wyzywająco. Gładkie i błękitne morze szumiało dokoła. Na słonecznej plaży Albertyna w gronie przyjaciółek była najpiękniejsza. I ta wspaniała dziewczyna, w codziennej ramie olbrzymich wód, wyrażała mi ten ostateczny afront, tak miły damie, która ją podziwiała. Był ostateczny, bo kiedy dama wróciła do Balbec, stwierdzała może na promiennej i zgiełkowej plaży

<sup>1119</sup>*Peri* (mit. perska) — piękne, wzniosłe skrzydlate duchy; psotne istoty, którym odmówiony został dostęp do rajów, póki nie dopełnią pokuty; w kulturze islamskiej *Peri* przekształciły się w duchy dobroczynne, w przeciwstawieniu do złośliwych *dżinów*. [przypis edytorski]

nieobecność Albertyny. Ale nie wiedziała, że Albertyna mieszka u mnie, że jest tylko moja. Olbrzymie i modre wody, niepamięć pociągu jej do tej dziewczyny, biegnącego ku innym, skryły zniewagę, jaką mi uczyniła Albertyna, zamykając ją w olśniewającym i nieskruszonym pudrze. Wówczas nienawiść do tej kobiety kąsała moje serce; do Albertyny także; ale nienawiść zmieszana z podziwem dla pięknej, psutej uwielbieniem, cudnowłosej dziewczyny, której wybuch śmiechu na plaży był afrontem. Wstyd, zazdrość, wspomnienie pierwszych żądź i lśniącej ramy wróciły Albertynie jej dawną piękność, dawną wartość. I w ten sposób ciężka nieco nuda, jaką odczuwałem przy niej, ustępowała chwilami frenetycznemu pragnieniu pełnemu wspaniałych burz i żalów; i zależnie od tego, czy była przy mnie, w moim pokoju, czy też wracałem jej w pamięci swobodę na promenadzie, w wesołych plażowych kostiumach, przy dźwięku muzyki morza, jawiła się Albertyna to wyrwana z tego środowiska, posiadana i mało cenna, to zanurzona w nie z powrotem, wymykająca mi się w nieodgadnioną przeszłość, obrażająca mnie w obecności przyjaciółki, niby bryzg fali lub olśnienie słońca — Albertyna to przeniesiona na plażę, to zamknięta w moim pokoju, przedmiot jakiejś ziemnowodnej miłości.

Gdzie indziej liczna gromadka grała w piłkę. Wszystkie te dziewczęta chciały korzystać ze słońca, bo owe dni letowe, nawet kiedy są tak lśniące, nie trwają długo i blask nie opóźnia ich schyłku. Zanim jeszcze nadszedł, mieliśmy chwilę półmroku, bo dotarłszy do Sekwany, gdzie Albertyna podziwiała (a przez swoją obecność przeszkodziła mi podziwiać) refleksy czerwonych żagli w zimowej i błękitnej wodzie, dom przycupnięty w dali niby samotny mak na jasnym horyzoncie, którego cząstkowym, kruchym i żyłkowanym skamienieniem zdawało się w oddali Saint-Cloud, wyszliśmy z powozu i chodziliśmy długo; przez chwilę prowadziłem ją nawet pod rękę; miałem uczucie, że pierścień, jakim ramię jej obejmowało moje, łączy nasze dwie osoby w jedną istotę i wiąże nasze losy.

U naszych stóp nasze równoległe cienie, zbliżone i złączone, tworzyły uroczy rysunek. Bez wątpienia już w domu wydawało mi się cudowne, że Albertyna mieszka ze mną, że to ona wyciąga się na moim łóżku. Ale to, że nad owym jeziorem w Lasku, które tak lubilem, u stóp drzew, słońce malowało na piasku obok mojego cienia jej właśnie cień, czysty i uproszczony cień jej nogi, jej kibici, to było jak gdyby jej uzewnętrznieniem w pełnej naturze. I w tym zlanie się naszych cieni znajdowałem czar niewątpliwie mniej materialny, ale nie mniej poufny niż w zbliżeniu się, w zlanie się naszych ciał.

Wróciliśmy do powozu. I w powrotnej drodze powóz zapuścił się w te wąskie kręte aleje, gdzie zimowe drzewa, strojne niby ruiny w bluszcz i ciernie, zdawały się wieść do mieszkania czarnoksiężnika. Ledwie opuściwszy ich mroczny szpaler, na wyjezdnym z Lasku odnaleźliśmy pełny dzień, jeszcze tak jasny, iż sądziłem, że mam czas zrobić wszystko, co chciałem przed obiadem, kiedy parę chwil później, gdy powóz zbliżał się do Łuku Triumfalnego<sup>1120</sup>, z nagłym uczuciem niespodzianki i przerażenia ujrzałem nad Paryżem pełny i przedwczesny księżyc niby tarczę zatrzymanego zegara, który każe nam przypuszczać, żeśmy się zapóźnili.

Kazaliśmy woźnicy wracać. Dla Albertyny znaczyło to wracać do mnie. Obecność kobiet, choćby najukochańszych, które muszą się rozstawać z nami, aby wracać do domu, nie daje tego spokoju, jaki ja czerpałem w obecności Albertyny siedzącej przy mnie w powozie, obecności wiodącej nas nie ku próżni rozłąki, ale ku jeszcze trwalszemu i zaciszniejszemu połączeniu się w moim mieszkaniu, które było także jej mieszkaniem — materialnym symbolem mojego posiadania. Zapewne aby posiadać, trzeba wprzód pragnąć. Linie, powierzchnię, bryłę posiadamy jedynie o tyle, o ile miłość nasza je zajmie. Ale Albertyna nie była dla mnie w czasie naszego spaceru, jak była niegdyś Rachela, czczym prochem z ciała i materii. Wyobraźnia moich oczu, warg, rąk tak trwale zbudowała, tak czule wygładziła w Balbec jej ciało, że teraz w tym powozie na to, aby dotknąć tego ciała, aby je w sobie zawrzeć, nie potrzebowałem się przytulić do Albertyny ani nawet jej widzieć; wystarczyło mi słyszeć ją, a jeżeli milczała, wiedzieć, że jest przy mnie; zmysły moje, splecione razem, spowijały ją całą, a kiedy przybywszy przed dom, całkiem naturalnie wysiadła, zatrzymałem się na chwilę, aby polecić szoferowi wrócić po mnie, ale spojrzenia moje spowijały ją jeszcze wówczas, gdy wchodziła przede mną w bramę.

<sup>1120</sup>Łuk Triumfalny w Paryżu — pomnik na zach. krańcu Pól Elizejskich, zbudowany dla uczczenia żołnierzy, którzy walczyli i polegli za Francję w czasie wojen okresu rewolucji i wojen napoleońskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego. [przypis edytorski]

I wciąż odczuwałem ten sam leniwy i domowy spokój, widząc ją ciężką, purpurową, pulchną i niewolną, wracającą całkiem naturalnie ze mną, jak kobieta będąca moją własnością, i znikającą wraz ze mną w forticy naszego domu.

Na nieszczęście Albertyna robiła wrażenie, że się w nim czuje jak w więzieniu, dzieląc widocznie pogląd owej pani de La Rochefoucauld<sup>1121</sup>, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt, odpowiedziała, iż „nie ma pięknego więzienia”. Tak mogłem przynajmniej sądzić ze smutnej i zmęczonej miny, jaką Albertyna miała tego wieczora podczas naszego obiadu sam na sam w jej pokoju. Nie zauważyłem tego zrazu; przeciwnie, trapiłem się myślą, że gdyby nie Albertyna (bo z nią za wiele bym cierpiał mąk zazdrości w hotelu, gdzie przez cały dzień byłaby narażona na styczność z tyloma osobami), mógłbym w tej chwili jeść obiad w Wenecji w jakiejś małej jadalni, niskiej niby spód okrętu, skąd widzi się Wielki Kanał<sup>1122</sup> przez sklepienie okienka okolone mauretańskimi odlewami.

Muszę dodać, że Albertyna podziwiała u mnie wielki brąz Barbedienne'a<sup>1123</sup>, który nader słusznie Bloch uważał za bardzo brzydki. Mniej słusznie może dziwił się, że ja zachowałem ten brąz. Nigdy nie starałem się, jak Bloch, o wnętrza artystyczne, o komponowanie pokojów, byłem za leniwy, zbyt obojętny na to, na co patrzyłem co dzień. Skoro mój smak był na to obojętny, miałem prawo nie dbać o szczegóły mieszkania. Mógłbym zapewne usunąć ten brąz. Ale rzeczy brzydkie i bogate są bardzo użyteczne, bo wywierają na osoby nierozumiejące nas, niepodzielające naszego gustu, a w których możemy być zakochani, urok, którego by nie miał jakiś dumny przedmiot, niezdradzający swojej piękności. Otóż jedynie właśnie wobec istot nierozumiejących nas możemy potrzebować przewagę, które inteligencja nasza zapewniłaby nam w oczach istot mniej pospolitych. Mimo iż gust Albertyny zaczynał się wyrabiać, miała ona jeszcze pewien kult dla brązów, a kult ten opromieniał mnie szacunkiem, który — skoro kochałem Albertynę — był dla mnie znacznie ważniejszy niż fakt trzymania w pokoju brązu nieco kompromitującego.

Ale myśl o mojej niewoli przestała mi nagle ciążyć, przeciwnie, pragnąłem przedłużyć ją jeszcze, ponieważ zauważyłem, że Albertyna dotkliwie odczuwa własną niewolę. Zapewne, za każdym razem, kiedy pytałem, czy się jej nie przykrzy u mnie, odpowiadała, że nigdzie nie mogłoby być jej lepiej. Ale często słowom tym przeczył wyraz nostalgii, zdenerwowania.

Z pewnością, jeżeli miała skłonności, o jakie ją posądzałem, niemożność zaspokojenia ich musiała być równie drażniąca dla niej, jak była kojąca dla mnie. Łatwiej mógłbym uwierzyć w niesłuszność moich posądzeń, gdyby nie trudność wytłumaczenia szczególnej baczności, z jaką Albertyna starała się nigdy nie być sama, nigdy nie być wolna, nie zatrzymywać się ani chwili przed bramą, kiedy wracała, kazać sobie, ilekroć miała telefonować, ostentacyjnie towarzyszyć komuś — Franciszce, Annie — kto by mi mógł powtórzyć jej słowa. Kiedy były na spacerze z Anną, zawsze zostawiała mnie z nią samego, niby to przypadkiem, abym mógł się szczegółowo wypytać o to, jak spędziły czas. Z tą cudowną uległością klóciły się przelotne odruchy niecierpliwości, rodzące we mnie pytanie, czy Albertyna nie kryje chęci strząśnięcia swego łańcucha. Przygodne fakty wspierały mój domysł. I tak pewnego dnia, będąc sam, spotkałem w pobliżu Passy Gizelę; rozmawialiśmy chwilę. W trakcie rozmowy, dość rad, że mogę to oznajmić Gizeli, powiedziałem, że stale widuję Albertynę. Spytała, gdzie mogłaby ją znaleźć, bo właśnie ma jej coś do powiedzenia. — „Co takiego?” — „Et, coś, co tyczy jej koleżanek.” — „Co za koleżanek? Mógłbym cię może objaśnić, co oczywiście nie przeszkodzi ci widzieć jej”. — „Och, dawnych koleżanek, nie przypominam już sobie nazwisk” — rzekła Gizela mgliście, wycofując się. Pożegnała mnie, sądząc, że zachowała wszelką ostrożność i że niczym nie zbudziła mojej nieufności. Ale kłamstwo jest niewybredne, tak mało mu trzeba, aby wyszło na jaw! Jeśli chodziło o dawne koleżanki, których nazwisk nawet nie znała, czemu

<sup>1121</sup>pani de La Rochefoucauld, która kiedy jej pytano, czy nie miło jej mieszkać w siedzibie tak uroczej jak Liancourt... — chodzi raczej o panią de La Rocheguyon (de La Roche-Guyon), uwięzioną w pałacu Liancourt, i jej odpowiedź, przytoczoną w *Historijkach* Tallemanta des Réaux (1619–1692), wydanych pośmiertnie w latach 1834–1835. [przypis edytorski]

<sup>1122</sup>Wielki Kanał (wł. *Canal Grande*) — jeden z głównych kanałów Wenecji, o dł. ok. 4 km i szer. 30–60 m, przepływając przez środek Wenecji dzieli ją na dwie części; wzdłuż jego brzegów powstały w XIII–XVIII w. liczne, znane budowle. [przypis edytorski]

<sup>1123</sup>Barbedienne, Ferdinand (1810–1892) — francuski metaloplastyk, wytwórca, brązownik. [przypis edytorski]



Gizela właśnie potrzebowała mówić z Albertyną? Ten przysłówek, dość spowinowacony z ulubionym wyrażeniem pani Cottard: „to spada jak z nieba”, mógł się odnosić tylko do jakiejś rzeczy specjalnej, aktualnej, może pilnej, dotyczącej określonych osób. Zresztą już sam sposób otwierania ust niby do ziewnięcia, z roztargnieniem, kiedy mówiła (niemal przechylając się wstecz, jak gdyby dawała kontrparę od tej chwili rozmowy): „Och, nie wiem, nie przypominam sobie nazwisk!” — wszystko to dawało twarzy Gizeli i zgodnemu z nią głosowi w tym samym stopniu cechę kłamstwa, w jakim wręcz odmienny wyraz — konkretny, ożywiony — owego: „mam właśnie” wyrażał prawdę.

Nie wypytywałem Gizeli. Na co by się to zdało? Z pewnością kłamała w innym sensie niż Albertyna. I z pewnością kłamstwa Albertyny były mi boleśniejsze. Ale po pierwsze istniał między nimi wspólny punkt: sam fakt kłamstwa, które w pewnych wypadkach staje się oczywistością. Nie realność, kryjąca się w tym kłamstwie. Wiadomo, każdy morderca wyobraża sobie, iż skombinował wszystko tak dobrze, że nie da się złapać; pośród kłamców wyobrażają to sobie zwłaszcza kobiety, które kochamy. Nie wiemy, dokąd chodziła, co robiła. Ale skoro się odezwie, kiedy mówi o jakiejś innej rzeczy, pod którą kryje się to, czego nie mówi, kłamstwo przebija natychmiast, a zazdrość nasza wzmagą się, i dlatego że czuje się kłamstwo, i że niepodobna dojść prawdy. U Albertyny wrażenie kłamstwa dawały różne rysy, które już czytelnik zauważył w ciągu tego opowiadania, ale zwłaszcza ten, że kiedy kłamała, opowiadanie jej grzeszyło bądź ogólnikowością, lukami, nieprawdopodobieństwem, bądź przeciwnie, nadmiarem drobnych faktów mających je uprawdopodobnić. Mimo złudzenia kłamcy prawdopodobieństwo nie jest wcale prawdą. Z chwilą kiedy, słuchając czegoś prawdziwego, usłyszymy coś, co jest tylko prawdopodobne — może prawdopodobniejsze od prawdy — może zbyt prawdopodobne — bodaj trochę muzykalne ucho czuje, że to nie to, niby arytmie wiersza lub jakieś słowo przeczytane głośno zamiast innego. Ucho słyszy to, a jeżeli wchodzi w grę miłość, serce odczuwa. I wówczas kiedy zmieniamy całe swoje życie, dlatego że nie wiemy, czy przechodziła ulicą de Berri, czy ulicą Washington, czemuż nie pomyślimy, że tych kilka metrów różnicy i sama kobieta skurczą się do jednej setnomilionowej (to znaczy do zera), o ile tylko zdobędziemy się na ten rozsądek, aby wytrwać kilka lat bez widzenia tej kobiety, i że to, co było olbrzymim Guliwerem, stanie się liliputką, której nie zdoła już dostrzec żaden mikroskop — przynajmniej mikroskop serca, bo mikroskop obojętnej pamięci jest potężniejszy i trwalszy.

Jak bądź się rzeczy miały, jeżeli istniał wspólny punkt — sam fakt kłamstwa — między kłamstwami Albertyny i Gizeli, bądź co bądź Gizela nie kłamała w ten sam sposób co Albertyna ani także nie w ten sam sposób co Anna; ale ich ewentualne kłamstwa (przedstawiając równocześnie wielką różnorodność) zająłoby się idealnie. Gromadka ta posiadała nieprzeniknioną solidarność pewnych domów handlowych — księgarni lub prasy na przykład — gdzie mimo różnorodności składających je osób, nieszczęśliwy autor nigdy nie zdoła się dowiedzieć, czy go wykierowano. Redaktor dziennika lub tygodnika kłamie z pozorami szczerości tym uroczyściej, ile że trzeba mu w niejednej okazji pokrywać fakt, że sam robi ściśle to samo i uprawia te same praktyki handlowe, które piętnował u innych redaktorów lub dyrektorów teatru, u innych wydawców, wówczas gdy podniósł przeciw nim sztandar Szczerości. Obwieścić (jako głowa stronnictwa politycznego lub w innym charakterze), że kłamstwo to jest rzecz okropna, zmusza najczęściej do tego, żeby kłamać więcej od innych, nie porzucając mimo to uroczyściej maski, nie zdejmując dostojnej tiary szczerości. Wspólnik „człowieka szczerego” kłamie inaczej, naiwniej. Oszukuje autora, jak oszukuje żonę, za pomocą farsowych sztuczek. Sekretarz redakcji, człowiek uczciwy i pospolity, kłamie po prostu jak architekt przyrzekający, że dom będzie gotowy w terminie, w którym nawet nie będzie zaczęty. Naczelnik redakcji, anielska dusza, wołtyżuje między tamtymi trzema i nie wiedząc, o co chodzi, przez braterski skrupuł i tkliwą solidarność używa im cennej pomocy niepodejrzanego słowa. Te cztery osobistości żyją w ustawicznej dysharmonii, której kładzie koniec zjawienie się autora. Ponad poszczególne zwady każdy z nich pamięta o świętym żołnierskim obowiązku spieszenia z pomocą zagrożonemu „korpusowi”. Nie zdając sobie z tego sprawy, od dawna odgrywałem wobec gromadki dziewcząt rolę tego autora. Jeżeli Gizela, mówiąc swoje „właśnie”, myślała o jakiejś koleżance Albertyny gotowej jechać z nią w podróż, z chwilą gdy mnie Albertyna pod tym czy innym pozorem opuści, i jeżeli chciała uprzedzić Albertynę, że

godzina już nadeszła lub wybije niedługo, ta sama Gizela raczej by się dała porąbać, niżby mi to powiedziała; wszelkie pytania były więc bezcelowe.

Nie tylko takie spotkania jak z Gizelą pogłębiały moje wątpliwości. Podziwiałem na przykład malarstwo Albertyny. Malarstwo Albertyny, wzruszająca rozrywka więźnia, rozczuliło mnie tak, że go jej powinszowałem.

— Nie, to bardzo liche, ale ja nie brałam ani jednej lekcji rysunku.

— Ale któregoś wieczora w Balbec mówiłaś mi, żeś została z powodu lekcji rysunku?

Przypomniałem jej ów dzień, dodając, że od razu zrozumiał, iż o tej godzinie nie bierze się lekcji rysunku. Albertyna zaczerwieniła się.

— Masz słuszość — rzekła. — Nie brałam lekcji rysunku i w ogóle dużo ci kłamałam w początkach, przyznaję. Ale teraz nie kłamię już nigdy.

Tak bym rad był wiedzieć, co to były za liczne kłamstwa w początkach, ale wiedziałem z góry, że wyznania Albertyny byłyby nowym kłamstwem. Toteż po prostu pocałowałem ją. Poprosiłem tylko dla przykładu o któreś z tych kłamstw. Odpowiedziała: „O, na przykład, że mi morskie powietrze szkodzi”. Wobec tak wyraźnej złej woli przestałem nalegać.

Iżby się łańcuch wydał Albertynie lżejszy, najlepiej było zapewne utrzymywać ją w mniemaniu, że go sam skruszę. Bądź co bądź tego kłamliwego zamiaru nie mogłem jej objawić w tej chwili; zbyt poczciwie wróciła dopiero co z Trocadéro; jedyne, co mogłem zrobić zamiast ją martwić groźbą zerwania, było kryć rojenia mego wdzięcznego serca o wiecznym wspólnym życiu. Patrząc na Albertynę, z trudem wstrzymywałem się od zwierzenia tych rojeń, może ona to spostrzegła. Nieszczęściem, wyraz takich uczuć nie jest zaraźliwy. Wypadek pana de Charlus, który, widząc tak długo w swojej wyobraźni wspaniałego młodzieńca, wierzy, że sam stał się wspaniałym młodzieńcem, i to tym bardziej, im bardziej jest zmanierowaną i śmieszną starą damą, ten wypadek jest dość powszechny. Zakochany, na swoje nieszczęście, nie zdaje sobie sprawy, iż podczas gdy on widzi przed sobą piękną twarz, kochanka jego widzi twarz jego, która nie stała się piękniejsza — wręcz przeciwnie! — kiedy ją zniekształca rozkosz zrodzona widokiem piękności. Miłość zresztą nie wyczerpuje wszystkich odmian tego wypadku; nie widzimy naszego ciała, które widzą inni, i „ścigamy” swoją ideę, przedmiot niewidzialny drugim, a obecny dla nas. Czasem artysta ukaże ją w swoim dziele. Stąd pochodzi, że admiratorzy dzieła doznają rozczarowania, poznając autora, w którego twarzy owa wewnętrzna piękność niedoskonale się odbija.

Wszelka istota kochana, a nawet poniekąd wszelka istota, jest dla nas niby Janus<sup>1124</sup>, ukazujący nam twarz powabną, gdy nas ta istota opuszcza, a uprzykrzoną, jeśli ją mamy wiecznie do dyspozycji. Co się tyczy Albertyny, ustawiczne pożycie z nią miało coś inaczej uciążliwego, niż to mogę tutaj wyrazić. Okropną rzeczą jest czuć życie innej osoby przywiązane do naszego niby bomba, którą niesiemy, nie mogąc jej porzucić bez zbrodni. Ale proszę wziąć jako porównanie przyływy i odpływy, niebezpieczeństwa, niepokój, obawę, że ktoś uwierzy później w rzeczy fałszywe i prawdopodobne, a niemożliwe do wytłumaczenia, uczucia, jakich się doznaje, żyjąc w pobliżu wariata. Żałowałem na przykład pana de Charlus, że żyje z Morelem (wspomnienie południowej sceny przyprawiło mnie o nagły skurcz serca); pomijając stosunki istniejące lub nieistniejące między nimi, pan de Charlus z pewnością nie wiedział z początku, że Morel jest wariat. Piękność Morela, jego nikczemność, jego pycha musiały odwrócić barona od takich dociekań, aż do melancholijnych dni, kiedy Morel (nie mogąc tego niczym poprzeć) obwinił pana de Charlus o swój smutek, kiedy go lżył za jego nieufność przy pomocy fałszywych, lecz nadzwyczaj subtelnych rozumowań, groził mu rozpaczliwymi postanowieniami, wśród których trwała najwyraźniejsza pamięć bezpośredniej korzyści. Wszystko to jest tylko porównanie. Albertyna nie była obłąkana.

\*

Dowiedziałem się, że tego właśnie dnia nastąpiła śmierć, która mnie bardzo zmarwiła: śmierć Bergotte'a. Czytelnik wie, że choroba jego ciągnęła się od dawna. Nie ta

<sup>1124</sup>Janus (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzewi, bram i mostów, zwyczajowo przedstawiany z dwiema twarzami. [przypis edytorski]

oczywiście, na którą cierpiał zrazu i która była naturalna. Zdaje się, że natura zsyla jedynie choroby dość krótkie. Ale medycyna posiadała sztukę przedłużania ich. Lekarstwa, ulga jaką przynoszą, złe samopoczucie spowodowane pauzą w ich używaniu stwarzają imitację choroby, którą przyzwyczajenie pacjenta w końcu utrwała, stylizuje, tak jak u dzieci wyleczonych z kokluszki długo trwa napadowy kaszel. Potem lekarstwa działają coraz mniej, zwiększa się dawki, nie przynoszą już żadnej ulgi, ale dzięki tej trwałej niedyspozycji zaczęły szkodzić. Natura nie dałaby im tak długiego trwania. To wielki cud, że medycyna, niemal dorównując naturze, może zmusić do leżenia w łóżku, do zażywania pod grozą śmierci lekarstwa. Odtąd sztucznie zaszczerpiona choroba zapuściła korzenie, stała się chorobą wtórną, lecz prawdziwą, z tą jedynie różnicą, że choroby naturalne mijają, ale nigdy te, które stwarza medycyna, bo ona nie zna sekretu uleczenia.

Od wielu lat Bergotte nie wychodził już z domu. Nigdy zresztą nie lubił świata lub też lubił go przez chwilę, aby nim wzgardzić jak wszystkim innym i w ten sam właściwy sobie sposób, polegający na tym, aby gardzić czymś nie dlatego, że się tego nie może uzyskać, ale skoro się to uzyskało. Żył tak skromnie, że nie podejrzewano, jak dalece jest bogaty; gdyby zaś wiedzano o tym, omylono by się znowuż, mając go za skąpca, gdy w istocie nie było równie hojnego człowieka. Był hojny zwłaszcza z kobietami — ściślej mówiąc z dziewczynkami — które wstydyły się, otrzymując aż tyle za tak mało. Miał dla siebie usprawiedliwienie, bo wiedział, że nigdy nie pisze mu się tak dobrze jak w atmosferze miłości. Miłość — to za wiele powiedziane; rozkosz, lekko wpijająca się w ciało, pomaga do pracy literackiej, bo niweczy inne przyjemności, na przykład przyjemności towarzyskie, jednakże dla wszystkich. I nawet jeżeli ta miłość przynosi rozczarowania, porusza bodaj — przez to samo — powierzchnię duszy, bez tego zagrożonej zastojem. Pożądanie nie jest tedy dla pisarza bez pożytku; najpierw przez to, że go oddala od innych ludzi i od stosowania się do nich, a potem że przywraca nieco sprawności machinie intelektualnej, która przekroczywszy pewne lata, skłonna jest zardzewieć. Nie jest człowiek szczęśliwy, ale rozważa przyczyny, które mu bronią szczęścia i które pozostałyby dlań niewidzialne bez tych nagłych perspektyw rozczarowania. Marzenia są nieziszczalne, wiemy o tym; nie snuliśmy ich może, gdyby nie pożądanie; dobrze jest odczuwać je po to, aby oglądać ich ruiny i aby ta ruina była nam nauką. Toteż Bergotte powiadał sobie: „Wydaję na dziewczynki więcej niż kilku milionerów razem, ale przyjemności lub zawody, jakie z nich czerpię, tworzą w rezultacie książkę, która mi daje pieniądze”. Biorąc ekonomicznie, rozumowanie to było absurdem, ale niechybnie Bergotte znajdował pewną przyjemność w tym, aby tak zmieniać złoto w pieszczoty, a pieszczoty w złoto.

Widzieliśmy w momencie śmierci babki, że zmęczona starość lubi odpoczynek. Otóż w towarzystwie istnieje tylko rozmowa. Jest idiotyczna, ale ma tę władzę, że neutralizuje kobiety, zmieniając się już tylko w pytania i odpowiedzi. Poza „światem” kobiety stają się z powrotem tym, co jest takim wypoczynkiem dla zmęczonego starca: przedmiotem kontemplacji. W każdym razie obecnie nie było już mowy o tym wszystkim. Wspomniałem, że Bergotte nie wychodził już z domu, kiedy zaś wstawał na godzinę, to cały zakutany w szale, w pledy, we wszystko, czym się człowiek okrywa w chwili, gdy ma wyjść na mróz albo wsiąść do wagonu. Tłumaczył się wobec nielicznych przyjaciół, których wpuszczał do siebie, i pokazując koce i kołdry, mówił wesoło: „Cóż chcesz, mój drogi, już Anaksagoras<sup>1125</sup> powiedział, że życie jest podróżą”. I tak stygnął powoli, niby mała planeta, wróżebny obraz wielkiej — Ziemi, kiedy zniknie z niej stopniowo ciepło, a potem życie. Wówczas skończy się zmartwychwstanie, bo choćby dzieła ludzkie promieniowały najdalej w przyszłe pokolenia, trzebaż jednak, aby byli ludzie! Jeżeli niektóre gatunki zwierząt oprą się dłużej zaborczemu zimnu, kiedy nie będzie już ludzi, sława Bergotte’a (przyjąwszy, że przetrwa do tej pory), zgaśnie nagle na zawsze. Ostatnie zwierzęta nie będą go czytały, mało bowiem prawdopodobne jest, aby na wzór apostołów w Zielone Świątki<sup>1126</sup> mogły zrozumieć mowę rozmaitych ludów, nie nauczywszy się jej.

<sup>1125</sup>Anaksagoras z Klazomen (ok. 500–ok. 428 p.n.e.) — filozof grecki, przedstawiciel jońskiej filozofii przyrody. [przypis edytorski]

<sup>1126</sup>Zielone Świątki — w polskiej tradycji katolickiej ludowa nazwa święta Zesłania Ducha Świętego, obchodzonego na pamiątkę wydarzeń opisanych w biblijnych *Dziejach Apostolskich*, kiedy apostołowie Jezusa zaczęli przemawiać w rozmaitych obcych językach, których się uprzednio nie uczyli (Dz 2, 1–11). [przypis edytorski]

W miesiącach, które poprzedziły jego śmierć, Bergotte cierpiał na bezsenność; co gorsze, z chwilą gdy usnął, dręczyły go koszmary, co sprawiało, że się po przebudzeniu bronił przed nowym zaśnięciem. Długi czas lubił sny, nawet przykre, bo dzięki nim, dzięki ich kontrastowi z rzeczywistością dostępną w czasie jawy mamy z chwilą przebudzenia głębokie wrażenie, żeśmy spali. Ale zmory Bergotte'a były inne. Dawniej, kiedy mówił o zmorach, rozumiał pod tym przykre rzeczy dziejące się w jego mózgu. Teraz czuł, jak gdyby z zewnątrz, rękę zbrojną w mokrą ścierkę, za pomocą której, przeciągając tę ścierkę po jego twarzy, zła kobieta siła się go obudzić; czuł też nieznośne swędzenie ud oraz wściekłość oszalałego woźnicy (bo Bergotte szepnął przez sen, że źle powozi), który się rzucał nań, gryząc mu palce, piłując je zębami. Wreszcie, skoro mrok jego snu był dość głęboki, natura robiła rodzaj „próby bez kostiumów” ataku apoplektycznego, który go miał powalić. Bergotte wjeżdżał powozem w bramę nowego domu Swanna, chciał wysiąść. Piorunujący zawrót głowy przygwałdził go do poduszek powozu, odźwierny siłił się mu pomóc, ale on siedział, nie mogąc się podnieść ani wyprostować nóg. Próbował się uczepić kamiennego filara, który miał przed sobą, ale nie znajdował w nim dostatecznego oparcia, aby wstać.

Poradził się lekarzy, którzy dumni z tego, że ich wzywa Bergotte, ujrzeli przyczynę niedomagań w jego pracowitości (już od dwudziestu lat nic nie robił), w przemęczeniu. Poradzili mu, żeby nie czytał makabrycznych powieści (nie czytał nic), aby więcej korzystał ze słońca, „nieodzownego do życia” (kilka lat względnego polepszenia zawdzięczał jedynie ścisłemu zamknięciu się w domu), aby się wydatniej odżywił (z czego schudł i co odżywiło zwłaszcza jego zmory). Jeden z lekarzy, mający pasję sprzeciwiania się i droczenia, kiedy go Bergotte wezwał osobno i kiedy, aby go nie urazić, przedstawiał mu jako własne poglądy to, co mu poradzili inni, lekarz-spryżka, myśląc, że Bergotte stara się uzyskać zaordynowanie czegoś, na co ma ochotę, zabraniał mu tego natychmiast, często na zasadzie doraźnych argumentów sporządzonych tak szybko, że wobec faktycznych obiekcji Bergotte'a lekarz-spryżka musiał w jednym i tym samym zdaniu przeczyć samemu sobie; ale na podstawie nowych racji potwierdzał zakaz. Bergotte wracał wówczas do jednego z poprzednich lekarzy, człowieka mającego ambicje intelektualne, zwłaszcza wobec jednego z mistrzów pióra; toteż jeśli Bergotte podsuwał: „Ale bo zdaje mi się, że pan doktor mówił — dawniej, oczywiście — że to może spowodować przekrwienie nerek i mózgu...”, lekarz uśmiechał się sprytnie, podnosił palec i powiadał: „Powiedziałem »używać«, ale nie »nadużywać«. Rzecz prosta, iż wszelkie lekarstwo, jeżeli się przesadza, staje się obosieczną bronią”.

Jest w naszym organizmie instynkt tego, co nam jest zbawienne, tak jak w sercu jest instynkt obowiązków moralnych, których żadna sankcja doktora medycyny lub teologii nie zastąpi. Wiemy, że zimne kąpiele nam szkodzą, a lubimy je; zawsze znajdziemy lekarza, który je nam zaleci, co nie zmieni faktu, że nam szkodzą. Od każdego z lekarzy Bergotte wziął to, czego przez rozsądek wzbraniał sobie od lat. Po kilku tygodniach dawne przypadłości wróciły, nowe pogorszyły się. Oszalały od nieustannych cierpień, do których przyłączała się bezsenność przerywana zmorami, Bergotte poniechał lekarzy i próbował z powodzeniem, ale często nadmiernie, rozmaitych narkotyków, z ufnością czytając dołączone do nich prospekty. Prospekty to głosiły potrzebę snu, ale insynuowały, że wszystkie sprowadzające sen preparaty (z wyjątkiem preparatu zawartego we flaconie zawiniętym w ów prospekt i nigdy nie grożącego zatruciem) są toksyczne i tym samym czynią lekarstwo gorszym od choroby. Bergotte wypróbował wszystkie te środki. Niektóre są z innej rodziny niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni, na przykład pochodne amylu i etylu. Nowy preparat o całkiem innym składzie pochłaniamy z rozkosznym oczekiwaniem czegoś nieznanego. Serce bije nam jak przed pierwszą schadzka. Ku jakim nieznanym rodzajom snu, marzenia zaprowadzi nas nowy przybysz? Jest teraz w nas, ma władzę nad naszą myślą. W jaki sposób zaśniemy? A skoro raz zaśniemy, przez jakie dziwne drogi, na jakie niezbadane wierzchołki, w jakie otchłanie zawiedzie nas wszechpotężny władca? Jaką nową kombinacją wrażeń poznamy w tej podróży? Czy doprowadzi nas do nudności? Bo błogostanu? Do śmierci?

Śmierć Bergotte'a nastąpiła wczoraj, właśnie wówczas gdy się w ten sposób zawierzył jednemu z tych zbyt potężnych przyjaciół (przyjaciół? wrogów?). Umarł w następujących

okolicznościach. Dość lekki atak uremii sprawił, że mu zalecano spokój. Ale ponieważ jakiś krytyk napisał, iż w *Widoku Delft* Vermeera<sup>1127</sup> (wypożyczonym przez muzeum haskie na wystawę Holendrów), obrazie, który Bergotte uwielbiał, sądząc, że go zna bardzo dobrze, kawałek żółtej ściany, której Bergotte sobie nie przypominał, wymalowany jest tak wspaniale, że kiedy się patrzy wyłącznie na ten fragment, wydaje się niby szacowne dzieło sztuki chińskiej, samowystarczalne w swojej piękności, Bergotte zjadł parę kartofli, wyszedł z domu i udał się na wystawę. Wstępując na pierwsze stopnie, uczył zawrót głowy. Przechodząc koło kilku obrazów, odniósł wrażenie oschłości i zbyteczności sztuki tak sztucznej, mniej wartej od przewiewu i słońca w jakimś pałacu w Wenecji lub w zwykłym domku nad morzem. W końcu znalazł się przed obrazem Vermeera, który pozostał mu w pamięci bardziej olśniewający, bardziej różny od wszystkiego, co znał, ale w którym, dzięki artykułowi krytyka, pierwszy raz zauważył drobne postacie ludzkie malowane niebiesko i to, że piasek był różowy, i wreszcie szacowną materię kawałka żółtej ściany. Zawrót był coraz silniejszy; Bergotte wlepił wzrok w beczenną ścianę, jak dziecko wpatruje się w żółtego motyla, którego pragnie pochwycić. „Tak powinienem być pisać — powiedział sobie. — Moje ostatnie książki są za suche; trzeba było je pociągnąć kilka razy farbą, uczynić każde zdanie cennym samo w sobie, jak ten fragment żółtej ściany”. Równocześnie nie tracił poczucia swego groźnego stanu. Na niebiańskiej wadze jawiło mu się jego własne życie obciążające jedną z szal, gdy druga zawierała kawałek ściany tak pięknie namalowanej żółto. Bergotte czuł, że niebacznie oddał pierwsze za drugie. „Nie mam przecież ochoty — powiedział sobie — figurować na tej wystawie w wieczornej rubryce wypadków”.

Powtarzał sobie: „Kawałek żółtej ściany z daszkiem, kawałek żółtej ściany”. Zwalil się na okrągłą kanapę; równie szybko przestał myśleć, że życie jego jest w grze, i odzyskując optymizm, powiedział sobie: „Zwykła niestrawność, niedogotowane kartofle, to nic”. Nowy cios powalił go: Bergotte stoczył się na ziemię, zbiegła się publiczność wraz z woźnymi. Był martwy. Martwy na zawsze? Kto to może powiedzieć? Niewątpliwie, doświadczenia spirytystyczne, jak dogmaty religijne, nie dają dowodu przetrwania duszy. Można jedynie powiedzieć, że wszystko się dzieje w naszym życiu tak, jak gdybyśmy w nie wchodzili z ciężarem zobowiązań zaciągniętych w życiu poprzednim; w warunkach naszej egzystencji na tej ziemi nie ma żadnej racji, abyśmy się uważali za zobowiązanych do jakichś cnót, do delikatności, grzeczności, ani nie ma racji, aby artysta czuł się zobowiązany rozpoczynać dwadzieścia razy jedno dzieło, którego sukces mało będzie obchodził jego ciało toczone przez robaki — jak ten fragment żółtej ściany, który namalował z takim kunsztem i wyrafinowaniem artysta na zawsze nieznan, dość na niepewne określony nazwiskiem „Vermeer”. Wszystkie te zobowiązania, niemające sankcji w życiu obecnym, zdają się należeć do odmiennego świata, opartego na dobroci, na względach moralnych, na poświęceniu; świata całkowicie odmiennego niż nasz; świata, który opuszczamy, aby się urodzić na tej ziemi, zanim może wrócimy tam, aby żyć wedle owych nieznanych praw, którym byliśmy posłuszni, bo nosiliśmy je w sobie, nie wiedząc, kto w nas zakreślił te prawa, do których wszelka głęboka praca inteligencji nas zbliża, a które są niewidzialne jedynie — a i to pytanie! — głupcom. Tak iż myśl, że Bergotte nie umarł na zawsze, nie jest pozbawiona prawdopodobieństwa.

Pogrzebano go, ale przez całą noc żalobną w oświetlonych witrynach książki jego, ułożone po trzy, czuwały jak anioły z rozpostartymi skrzydłami i zdawały się symbolem zmartwychwstania tego, którego już nie było.

Dowiedziałem się, jak już wspominałem, tego dnia, że Bergotte umarł. I podziwiałem nieścisłość dzienników, które wszystkie powtarzały tę samą notatkę, powiadając, że umarł poprzedniego dnia. Otóż w wilię Albertyna spotkała Bergotte'a (opowiedziała mi to tego samego wieczora) i przez to nawet spóźniła się trochę, bo rozmawiał z nią dość długo. Z pewnością to była jego ostatnia rozmowa. Znała go przeze mnie. Nie widywałem już Bergotte'a od dawna, ale ponieważ Albertyna była ciekawa go poznać, napisałem przed

<sup>1127</sup>Vermeer, *Jobannes* (1632–1675) — malarz holenderski, autor głównie scen rodzajowych; *Widok Delft* (ok. 1661) stanowi jeden z jego dwóch obrazów przedstawiających widoki miejskie. [przypis edytorski]

rokiem do starego mistrza z prośbą, abym ją mógł przyprowadzić. Zgodził się, mimo iż, jak sądzę, trochę dotknięty, że go odwiedzam jedynie po to, aby zrobić przyjemność komuś innemu, potwierdzając tym własną moją obojętność. Takie wypadki są częste: czasami ten, kogo błagamy o taką audiencję nie dla przyjemności porozmawiania z nim znowu, ale dla osoby trzeciej, odmawia tak uparcie, iż nasza protegowana sądzi, żeśmy się chępnili fałszywymi stosunkami; częściej geniusz lub sławna piękność zezwalają, ale upokorzeni w swojej dumie, zranieni w swojej przyjaźni, zachowują dla nas już tylko uczucie pomniejszone, bolesne, nieco wzgardliwe. W długi czas potem zgadłem, że niesłusznie oskarżałem dzienniki o nieścistość, bo owego dnia Albertyna wcale nie spotkała Bergotte'a; ale ani przez chwilę nie podejrzewałem niczego, w tak naturalny sposób mi to opowiedziała. Znacznie później dopiero poznałem jej uroczą sztukę kłamania z prostotą. To, co mówiła, to, co mi wyznawała, miało wszelkie cechy oczywistości, jak to, co widzimy, czego się dowiadujemy niezbitcie. W ten sposób w przerwy życia zasiewała epizody innego życia, którego fałszu nie podejrzewałem wówczas: uświadomiłem go sobie dopiero znacznie później. Dodałem: „co mi wyznawała” — oto czemu. Czasem osobliwy zbieg okoliczności budził we mnie podejrzenia, w których obok Albertyny figurowała w przeszłości lub niestety w przyszłości druga osoba. Aby wyglądało, że jestem zupełnie pewien swego, wymieniałem nazwisko, na co Albertyna mówiła: „Tak, spotkałam ją przed tygodniem tuż koło domu. Przez grzeczność przywitałam się, przeszłam z nią kilka kroków. Ale nigdy nie było nic między nami. I nigdy nie będzie nic”. Otóż Albertyna nie spotkała nawet tej osoby, dla tej prostej przyczyny, że tej osoby nie było w Paryżu od dziesięciu miesięcy. Ale Albertyna uważała, że przeczyć całkiem wyglądało mało prawdopodobnie. Stąd to krótkie rzekome spotkanie, opowiedziane z taką prostotą, że widziałem wręcz, jak się owa dama zatrzymuje, wita z Albertyną, towarzyszy jej kilka kroków. Gdybym się znalazł na ulicy w owej chwili, świadectwo zmysłów pouczyłoby mnie może, że owa dama nie spacerowała z Albertyną. Ale jeżeli się dowiedziałem, że tak nie było, to nie przez świadectwo zmysłów, lecz za pomocą jednego z owych logicznych łańcuchów, w których słowa osób posiadających nasze zaufanie stanowią silne ogniwa. Aby wezwać to świadectwo zmysłów, musiałbym tam być w owym momencie na ulicy, a nie byłem. Ale można sobie wyobrazić taką hipotezę: mogłem ostatecznie wyjść i przechodzić ulicą w godzinie, którą Albertyna (nie widząc mnie) wymieniłaby mi jako moment swego spaceru z damą; wówczas wiedziałbym, że skłamała. A i to, czy było całkiem pewne? Święty mrok oładnąłby moim umysłem, zacząłbym wątpić, czym ją widział samą, zaledwie starałbym się dojść, mocą jakiego złudzenia optycznego nie spostrzegłem owej damy; i nie byłbym nazbyt zdziwiony, że się pomylił, bo świat gwiazd mniej trudny jest do poznania niż prawdziwe postępy ludzkie, zwłaszcza istot, które kochamy, umocnionych przeciw naszemu wątpieniu bajkami przeznaczonymi na to, aby je chronić. Przez ile lat mogą one wmówić w naszą apatyczną miłość, że ukochana kobieta ma za granicą siostrę, brata, bratową, którzy nigdy nie istnieli!

Świadectwo zmysłów jest również operacją intelektu, w której oczywistość rodzi się z przeświadczenia. Widzieliśmy nieraz, jak zmysł słuchu przynosi Franciszce nie słowo, które ktoś wyrzekł, ale to, które ona uważała za prawdziwe, co wystarczało, aby nie słyszała sprostowań zawartych w poprawniejszej wymowie. Nasz kamerdyner miał podobną właściwość. Pan de Charlus nosił w owej epoce — bo często zmieniał mody — spodnie bardzo jasne, łatwe do rozpoznania pośród tysiąca. Otóż nasz kamerdyner, który myślał, że słowo „*pissotière*”<sup>1128</sup> (słowo oznaczające to, co ku wielkiej przykrości pana de Rambuteau, księżę de Guermantes nazywał „pawilon Rambuteau”) brzmi „*pistière*”, nie słyszał nigdy w ciągu swego życia ani jednej osoby mówiącej „*pissotière*”, mimo że często tak przy nim wymawiano. Ale błąd jest jeszcze upartszy niż wiara i nie sprawdza swoich pewników. Stale kamerdyner mówił: „Z pewnością pan baron musiał się pochorować stąd, że tak długo siedział w *pistière*. Oto co znaczy być dziwkazem. Ależ on ma spodnie! Dziś rano nasza pani posłała mnie ze zleceniem do Neuilly. Przy *pistière* na ulicy de Bourgogne widzę, jak pan baron wchodzi. Kiedy wracam z Neuilly w dobrą godzinę później, widzę jego żółte spodnie w tej samej *pistière*, na tym samym miejscu w środku, które on zawsze zajmuje, aby go nie widziano”.

<sup>1128</sup>*pissotière* (fr.) — publiczna ubikacja dla mężczyzn; por. pisuar. [przypis edytorski]

Nie znam nic piękniejszego, szlachetniejszego i młodszego niż jedna z siostrzenic pani de Guermantes. Ale słyszałem jak portier z restauracji, gdzie bywałem czasami, mówił, gdy przechodziła: „Popatrz na tę starą kłepę, co za fikimiki! A ma co najmniej osiemdziesiąt lat”. Co się tyczy wieku, wydaje mi się trudne do przypuszczenia, żeby on w to wierzył. Ale stojący koło niego „strzelcy”, rechocący za każdym razem, kiedy ona przechodziła koło hotelu, aby odwiedzić niedaleko stamtąd swoje dwie urocze cioteczne babki, panie de Fezensac i de Bellery, ujrzeli na twarzy tej młodej piękności osiemdziesiąt lat, w które — przez żart czy nie przez żart — ubrał odźwierny starą „kłepę”. Ryczeliby ze śmiechu, gdyby im ktoś powiedział, że osoba ta jest dystyngowana niż kasjerka hotelowa, która zżarta egzemą, pocieszenie tłusta, uchodziła w ich oczach za piękność. Jedyne może pociąg erotyczny zdołałby przeszkodzić utrwaleniu się ich omyłki, gdyby przemówił w chwili przechodzenia rzekomej staruszki i gdyby strzelcy poczuli nagłą żądzę pod adresem młodej bogini. Ale z nieznanych racji — wypływających zapewne z pobudek socjalnych — zmysły nie przemówiły. Można by zresztą o tym wiele rozprawiać. Świat jest prawdziwy dla nas wszystkich, a odmienny dla każdego. Gdybyśmy nie musieli dla porządku opowiadania ograniczyć się do racji błahych, ileż poważniejszych racji pozwoliłoby nam wykazać kłamliwą pobieżność początkowych kart tego tomu, gdzie słyszę z łóżka budzący się świat, to w taką pogodę, to w inną. Tak, musiałem ograniczyć się i kłamać, ale faktycznie co rano budzi się nie jeden wszechświat, ale miliony wszechświatów, prawie tyle ile jest żrenic i inteligencji ludzkich.

Aby wrócić do Albertyny, nie znałem kobiety bardziej obdarzonej szczęśliwą zdolnością kłamstwa żywego, grającego wszystkimi kolorami życia; chyba jedną z jej przyjaciółek, również jedną z moich „zakwitających dziewcząt”, różową jak Albertyna, ale której profil nieregularny, zapadły, potem znów wydatny, zupełnie przypominał pęki różowych kwiatów, których nazwy zapomniałem i które mają takie długie i kręte fałdy. Jako fabrykantka bajek ta dziewczyna przewyższała Albertynę, bo nie wprowadzała w swoją relację żadnego z momentów bolesnych, z nabrzmiałych wściekłością domyślników, tak częstych u Albertyny. Rzekłem wszelako, że Albertyna była urocza, kiedy wymyślała jakąś bajeczkę niezostawiającą miejsca na wątplenie. Widziało się po prostu to, co mówiła, mimo że wszystko było zmyślane: słowa jej zastępowały słuchaczowi wzrok. Natchnieniem Albertyny było jedynie prawdopodobieństwo, bynajmniej nie chęć wzbudzenia we mnie zazdrości. Bo Albertyna, nie będąc może interesowna, lubiła dowody galanterii. Otóż, o ile w ciągu tego dzieła miałem i będę miał wiele sposobności pokazania, jak zazdrość zdwaja miłość, brałem te rzeczy z punktu widzenia kochanka. Ale jeżeli ten kochanek ma bodaj trochę ambicji, wówczas choćby miał życiem przyplącić zerwanie, nie odpowie galanterią na domniemaną zdradę; usunie się, lub też, nie zrywając, zmusi się do udawania chłodu. Tym samym kochanka udręczyła go tyle bez żadnej dla siebie stąd korzyści. Jeżeli przeciwnie, zręcznym słówkiem, pieszczotą rozproszy podejrzenia, które go dręczyły, mimo iż udawał obojętność, wówczas zapewne kochanek nie zazna owego rozpaczliwego wzmożenia miłości, do którego wzbija ją zazdrość, ale przestając nagle cierpieć, szczęśliwy, rozczulony, czując owo odprężenie, jakiego doznajemy po burzy, kiedy spadł deszcz i kiedy ledwo czujemy pod wielkimi kasztanami krople z rzadka ściekające z liści i już zabarwione słońcem, nie wie, jak wyrazić wdzięczność tej, co go uleczyła. Albertyna wiedziała, że ja lubię nagradzać jej czułość, i to tłumaczyłoby może, że aby się usprawiedliwić, improwizowała wyznania równie naturalne jak jej opowiadania, niebudzące we mnie wątpliwości. Jednym z nich było spotkanie Bergotte’a, wówczas gdy już nie żył. Dotąd znałem jedynie te kłamstwa Albertyny, które na przykład w Balbec demaskowała Franciszka, a które pominąłem tutaj, mimo że mi były tak bolesne: „Ano nie chciała przyjść i powiedziała: Czy nie mogłaby pani Franciszka powiedzieć panu, że mnie pani Franciszka nie zastała, niby że wyszłam?”. Ale „niżsi”, którzy nas kochają, tak jak Franciszka mnie kochała, znajdują przyjemność w tym, aby ranić naszą miłość własną.

## ROZDZIAŁ DRUGI. VERDURINOWIE ZRYWAJĄ Z PANEM DE CHARLUS

Po obiedzie powiedziałem Albertynie, iż chcę skorzystać z tego, żem wstał, aby odwiedzić przyjaciół: panią de Villeparisis, panią de Guermantes, Cambremerów, nie wiem kogo

jeszcze, tych, których zastanę w domu. Zamilczałem jedynie nazwisko tych, do których zamierzałem iść naprawdę: państwa Verdurin. Spytałem, czy nie poszłaby ze mną. Odpowiedziała, że nie ma sukni. „Przy tym jestem tak brzydko uczesana! Czy tobie zależy na tym, abym się nadal tak czesała?”. I żegnając się ze mną, podała mi rękę z owym nagłym wyciągnięciem ramienia, ściągnięciem łopatek, jak to robiła niegdyś na plaży w Balbec, nigdy zaś od tego czasu. Ten zapomniany ruch zmienił jej ciało w ciało dawnej Albertyny, która mnie ledwie знаła. Przywrócił Albertynie, ceremonialnej pod formą swobody, jej pierwotną nowość, nieznaną, nawet jej ramę. Ujrzałem morze poza tą dziewczyną, która nigdy nie żegnała się ze mną w ten sposób, od czasu jak nie byliśmy już nad morzem. „Ciotka uważa, że mnie to postarza” — dodała z chmurną miną. „Obyż ciotka mówiła prawdę! — pomyślałem. — Jedyna rzecz, o którą dba pani Bontemps, to żeby Albertyna, wyglądając na dziecko, odmładzała ją samą; a także o to, żeby jej nic nie kosztowała aż do dnia, gdy wyszedłszy za mnie, zacznie jej przynosić dochody”. Ale znowuż ja pragnąłem tego, żeby Albertyna wyglądała mniej młodo, mniej ładnie, żeby mniej głów odwracało się za nią na ulicy. Bo starość duenny<sup>1129</sup> nie tyle uspokaja zazdrosnego kochanka, ile stara twarz tej, którą kocha. Cierpiałem tylko nad tym, że uczesanie, na które ją namówiłem, może się Albertynie wydawać jeszcze jednym więzieniem. I to nowe domowe uczucie, nawet z dala od Albertyny, wciąż wiązało mnie do niej jak węzeł.

Oznajmiłem Albertynie (niezbyt, jak powiedziała, mającej ochotę towarzyszyć mi do Guermantów lub do Cambremerów), że nie bardzo wiem, dokąd pójdę; po czym udałem się do Verdurinów. Myśl o koncercie u nich przypominała mi popołudniową scenę („zatracena ździra”) — scenę miłości zawiedzionej, może zazdrosnej, ale równie bestialskiej jak ta, którą (oprócz słów) może zrobić zakochany, jeżeli można tak powiedzieć, w kobiecie orangutan. Naraz, w chwili gdy miał zawołać fiakra, usłyszałem szloch, który silił się zdławić jakiś mężczyzna siedzący na kamiennym słupie. Zbliżyłem się; osobnik, który trzymał głowę w rękach, robił wrażenie młodego człowieka; spod płaszcza mignęło coś białego, ujrzałem ze zdziwieniem, że jest we fraku i w białym krawacie. Słyszając mnie, odkrył twarz zalaną łzami, ale poznawszy mnie, odwrócił ją natychmiast. Był to Morel. Zrozumiał, że go poznał, i starając się wstrzymać łzy, powiedział, że musiał przystanąć chwilę, tak bardzo cierpi.

— Znieważylem dziś brutalnie — rzekł — osobę, do której byłem szczerze przywiązany. To jest podłe, bo ona mnie kocha.

— Z czasem zapomni może — odparłem, zdradzając mimo woli, że słyszał popołudniową scenę. Ale Morel był tak pochłonięty zgryzotą, że nie przyszło mu to nawet na myśl.

— Ona może zapomni — rzekł — ale ja nie zapomnę. Mam uczucie hańby, wstręt do siebie! Ale stało się, nic nie sprawi, aby się odstało. Kiedy mnie kto rozgniewa, sam nie wiem już, co robię. A to mi tak szkodzi, jestem istny kłębek nerwów.

Bo Morel, jak wszyscy neurastenicy, bardzo dbał o swoje zdrowie. Jeżeli po południu widziałem miłosną wściekłość rozjuszonego zwierzęcia, do wieczora w ciągu kilku godzin minęły wieki: nowe uczucie wstydu, żalu, zgryzoty świadczyło o wielkim etapie w ewolucji zwierzęcia mającego się kiedyś przeobrazić w ludzką istotę. Mimo wszystko słyszałem ciągle: „ździro zatracena” i bałem się rychłego nawrotu dzikości. Bardzo zresztą niejasne było mi to, co się stało, co jest o tyle zrozumialsze, że sam pan de Charlus absolutnie nie wiedział, iż od kilku dni, zwłaszcza tego dnia, nawet przed haniebnym epizodem niezwiązanym wprost ze stanem skrzypka, Morel popadł w neurastenię. W istocie, poprzedniego miesiąca posuwał się tak szybko jak mógł, o wiele wolniej, niżby chciał, w uwodzeniu siostrzeńcy Jupiena, z którą jako narzeczony mógł wychodzić do woli. Ale z chwilą gdy zaszedł trochę dalej w próbach gwałtu, a zwłaszcza kiedy zaczął nakłaniać narzeczoną, żeby nawiązała przyjaźń z innymi dziewczętami, których mu będzie dostarczała, napotkał na opór przyprowadzający go o furię. Czy że była zbyt notliwa, czy przeciwnie, oddała mu się, pragnienie Morela z punktu opadło. Postanowił zerwać; ale czując, że baron, mimo iż zboczeniec, jest o wiele moralniejszy od niego, bał się, aby z chwilą zerwania nie wyrzucił go za drzwi. Toteż postanowił już przed dwoma tygodniami odsunąć

<sup>1129</sup> *duenna* (daw., z hiszp. *dueña*) — ochmistrzyni, dama do towarzystwa młodej kobiety, towarzysząca jej w wyjściach poza dom; przyzwoitka. [przypis edytorski]



się od młodej dziewczyny, pozwalając panu de Charlus i Jupienowi rozwikłać to między sobą (użył słowa bardziej w stylu Cambronne'a<sup>1130</sup>), sam zaś, zanim zerwie oficjalnie, „dać nogę” ku nieznanym przeznaczeniom.

Mimo iż postępowanie Morela z narzeczoną pokrywało się ściśle, do najdrobniejszych szczegółów, z teoriami rozwijanymi wobec barona przy obiedzie w Saint-Mars-le-Vêtu, prawdopodobne jest, że praktyka a teoria bardzo różniły się między sobą i że uczucia mniej szpetne, nieprzewidziane przez Morela w jego teoretycznych zamiarach, upiękniły, usentymentalniły jego postępowanie. Jedynym punktem, w którym przeciwnie rzeczywistość stała się gorsza od zamiarów, było to, że w planach swoich nie uważał za możliwe zostać w Paryżu po takiej zdradzie. Teraz natomiast „dawać nogę” dla takiej bagateli zdawało mu się przesadą. To by znaczyło porzucić barona, który z pewnością byłby wściekły, zniweczyć swoją sytuację. Morel straciłby w ten sposób wszystko, co mu dawał baron. Myśl, że to jest nieuniknione, przyprowadziła skrzypka o ataki nerwowe, godziny całe mazał się, brał (ogłędnie) morfinę, aby o tym nie myśleć. Potem nagle zagościła w jego duszy myśl, która z pewnością nabierała tam życia i kształtu już od jakiegoś czasu; a mianowicie, że ta alternatywa, wybór między zerwaniem z panną a kompletnym zerwaniem z panem de Charlus nie są może konieczne. Stracić wszystkie pieniądze barona, to było ciężkie! W tej niepewności Morel trwał przez kilka dni w czarnych myślach, podobnych tym, które w nim budził widok Blocha. Potem uznał, że Jupien i jego siostrzenica próbowali go schwycić w pułapkę i że powinni się cieszyć, ponosząc tak lekką karę. Uważał zwłaszcza, że panna zawiniła niezręcznością, tym, że nie umiała go utrzymać przez zmysły. Nie tylko wyrzeczenie się pozycji przy panu de Charlus wydało się Morelowi absurdem, ale żałował nawet sutych obiadków, którymi raczył młodą dziewczynę, od czasu jak byli zaręczeni, a których koszt mógłby określić jako syn lokaja zapisującego w „książce” wydatki mego wuja. Bo „książka” w liczbie pojedynczej, dla ogółu śmiertelnych oznaczająca drukowane dzieło, traci to znaczenie dla księżących wysokości i dla lokajów. Dla drugich oznacza książkę rachunkową, dla pierwszych rejestr, w którym zapisuje się swoje nazwisko. (Pewnego dnia w Balbec, kiedy księżna de Luxembourg wspomniała, że nie wzięła z sobą książki, już chciałem jej zaproponować *Rybaka Islandzkiego* lub *Tartarina z Tarasconu*, kiedy nagle zrozumiał, że ona chce wyrazić nie obawę nudów, ale fakt, iż trudniej mi będzie zapisać u niej moje nazwisko).

Postępowanie Morela wydałoby mu się ohydne przed dwoma miesiącami, kiedy namiętnie kochał siostrzenicę Jupiena, ale od dwóch tygodni powtarzał sobie, że właśnie takie postępowanie jest naturalne i godne pochwały. Jednakże mimo zmiany zapatrywań Morela na następstwa tego kroku, wszystko to wzmagało w nim ów stan nerwowości, w którym przed chwilą dokonał zerwania. I już był gotów wyładować swój gniew, jeżeli nie na młodej dziewczynie, wobec której (poza chwilowym atakiem) zachował resztkę obawy — ostatni ślad miłości — to bodaj na baronie. Ale nie chciał mu nic mówić przed obiadem, stawiając bowiem ponad wszystko własne wirtuozostwo, w chwili gdy miał grać coś trudnego, jak dziś u Verdurinów, unikał (o ile tylko mógł, a popołudniowa scena to już było za wiele) wszystkiego, co by mogło upośledzić jego spokój. Podobnie chirurg, nawet będąc zapalonym automobilistą, nie prowadzi maszyny, kiedy ma operować. To mi tłumaczy, że mówiąc ze mną, Morel poruszał lekko palcami, aby się przekonać, czy odzyskały gibkość. Lekkie zmarszczenie brwi zdawało się stwierdzać, że pozostało mu jeszcze trochę nerwowej sztywności. Ale aby jej nie wzmagać, Morel rozchmurzał twarz, tak jak człowiek nie pozwala sobie denerwować się, że nie zaśnie albo że może spalić na panewce z kobietą, z obawy, aby sam ów lęk tym bardziej nie opóźnił chwili snu lub chwili rozkoszy. Toteż pragnąc odzyskać swoją pogodę, aby jak zawsze cały oddać się temu, co miał grać u Verdurinów, a zarazem pragnąc — dopóki go będę widział — pozwolić mi stwierdzić jego cierpienie, uznał za najprostsze błagać mnie, abym odszedł. Błaganie było zbyt ciche, a odejście było mi ulgą. Drżałem, aby Morel, mając iść za kilka minut tam gdzie ja, nie zaproponował mi pójścia razem; nazbyt dobrze pamiętałem popołudniową scenę, aby nie odczuwać niejakiego wstrętu do jego towarzystwa.

<sup>1130</sup> *Cambronne, Pierre* (1770–1842) — francuski generał wojen napoleońskich; wg tradycji podczas bitwy pod Waterloo na propozycję poddania się miał odpowiedzieć: „Gwardia umiera, ale nie się poddaje”, według innej wersji odpowiedział jednym wulgarnym słowem: „Merde!”, tj. „gówno”; we Francji funkcjonuje do dziś określenie *mot de Cambronne* (słowo Cambronne'a). [przypis edytorski]

Bardzo możliwe jest, że miłość, potem obojętność lub nienawiść Morela w stosunku do siostrzenicy Jupiena były szczerze. Na nieszczęście, nie pierwszy to raz postępował w ten sposób, że nagle „puszczał w trąbę” dziewczynę, którą przysięgał kochać wiecznie, której pokazywał nabity rewolwer, mówiąc, że strzeliłby sobie w łeb, gdyby popełnił kiedyś tę nikczemność, aby ją opuścić. Mimo to porzucił ją później i zamiast wyrzutów czuł do niej jakby urazę. Nie pierwszy i nie ostatni raz postępował w ten sposób; tak iż niejedna z dziewcząt — trudniej zapominających o nim niż on o nich — cierpiała, tak jak cierpiała długo jeszcze siostrzenica Jupiena, wciąż kochając Morela, mimo iż gardząc nim. Cierpiała, gotowe wybuchnąć pod naporem wewnętrznego bólu, bo każdej z nich wyraz twarzy Morela, twardej jak marmur i pięknej jak antyk — jakiś fragment greckiego grobowca — utkwiał w mózgu, z jego kwitnącymi włosami, z wymową subtelnych oczu, prostym nosem, tworzącym niepodobną do zoperowania wypukłość na nieprzeznaczonej dlań czaszce. Ale z biegiem czasu te tak twarde fragmenty osuwały się w końcu w miejsce, gdzie nie sprawiają zbyteńnego bólu, skąd się już nie ruszają; nie czuje się już ich obecności; to zapomnienie lub wspomnienie obojętne.

Nosiłem w sobie dwa produkty owego dnia. Z jednej strony, dzięki spokojowi, spowodowanemu uległością Albertyny, możliwość i tym samym postanowienie zerwania z nią. Z drugiej strony, owocem moich refleksji podczas czekania na nią przy fortepianie była myśl, że Sztuka, której starałbym się poświęcić odzyskaną wolność, nie jest czymś, co by było warte męki ofiary, nie jest czymś poza życiem, obcym jego czczości i nicości, ile że pozór istotnej indywidualności dzieła jest jedynie sprawą techniki. Jeżeli to popołudnie zostawiło we mnie inne, głębsze może osady, miały one uświadomić się we mnie dopiero znacznie później. Co do tych dwóch wyrzutów, które oceniałem jasno, nie miały one być trwałe; jeszcze bowiem tego wieczora moje pojęcia o sztuce miały się wyzwolić z owej deprecjacji, jakiej doznały w ciągu popołudnia, gdy w zamian spokój, a tym samym wolność, która by mi pozwoliła poświęcić się sztuce, miały mi być na nowo odjęte.

Kiedy mój wehikuł, jadąc wybrzeżem, zbliżał się do Verdurinów, kazałem go zatrzymać. Ujrzałem Brichota wysiadającego z tramwaju na rogu ulicy Bonaparte, w chwili gdy wycierał starą gazetą trzewiki i nakładał perłowe rękawiczki. Podeszedłem do niego. Od jakiegoś czasu, w miarę jak tracił wzrok, zaopatrywał się — tak bogato jak jakieś obserwatorium — w nowe silne i skomplikowane okulary, które na kształt astronomicznych przyrządów zdawały się przyśrubowane do jego oczu; wycelował na mnie ich potężny ogień i poznał mnie. Szklka były w doskonałym stanie. Ale poza nimi ujrzałem maleńkie, blade, konwulsyjne, gasnące, odległe spojrzenie, umieszczone pod tym potężnym aparatem tak, jak w laboratoriach zbyt hojnie subwencjonowanych w stosunku do wykonywanej w nich pracy umieszcza się nagle agonizujące zwierzątko w najwspanialszych przyrządach. Podałem ramię na wół niewidomemu profesorowi, aby podeprzeć jego kroki.

— Tym razem nie koło wielkiego Cherburga spotykamy się, ale koło małej Dunkierki — powiedział, a zdanie to wydało mi się bardzo nudne, bo nie wiedziałem, co ma oznaczać; ale nie śmiałem pytać Brichota przez obawę nie tyle jego pogardy, ile jego wyjaśnień. Odpowiedziałem, że dość jestem ciekawy ujrzeć salon, gdzie Swann spotykał niegdyś co wieczór Odetę.

— Jak to, pan zna te stare historie? — rzekł profesor. — Toż od tego czasu do śmierci Swanna upłynęło to, co poeta nazywa słusznie: „*Grande spatium mortalis aevi*”<sup>1131</sup>.

Śmierć Swanna wstrząsnęła mną w owym czasie. Śmierć Swanna! Swann nie grał w tym zdaniu roli prostego *genetivu*<sup>1132</sup>. Rozumiem przez to śmierć poszczególną, śmierć zesłaną przez los dla obsługi Swanna. Bo powiadamy dla uproszczenia „śmierć”; ale jest prawie tyleż śmierci co osób. Nie posiadamy zmysłu, który by nam pozwolił widzieć owe śmierci, biegające z rozmaitą chyżością we wszystkich kierunkach; śmierci czynne, kierowane przez los ku jakiemuś kandydatowi. Często są to śmierci, które całkowicie wywiążą się ze swego zadania dopiero za dwa lub trzy lata. Biegają szybko zaszczepić raka w łonie jakiegoś Swanna; potem spieszą do innych czynności, wracając dopiero wtedy,

<sup>1131</sup> *Grande spatium mortalis aevi* (łac.) — wielka część ludzkiego życia; Tacyt, *Żywot Agrykoli* (*De vita et moribus Iulii Agricolae*) III. [przypis edytorski]

<sup>1132</sup> *genetivus* (łac., gramat.) — dopełniacz. [przypis edytorski]

kiedy po zabiegu chirurga trzeba zaszczyć raka na nowo. Potem przychodzi moment notatki w „Gaulois”, że zdrowie Swanna budziło obawy, ale że obecnie stan chorego poprawia się z każdym dniem. Wówczas, na kilka minut przed ostatnim tchnieniem, śmierć niby zakonnica, która by kogoś pielęgnowała, zamiast go unicestwić, przychodzi czuwać przy jego ostatnich chwilach i śmiertelną aureolą wieńczy zlodowaciałą na zawsze istotę, której serce przestało bić. I ta rozmaitość śmierci, tajemnica ich okrężnego lotu, barwa ich złowroziej szarfy daje coś tak przejmującego tej rubryce dziennika:

„Dowiadujemy się ze szczerym żalem, że po długich i ciężkich cierpieniach pan Karol Swann zgasł wczoraj w swoim domu w Paryżu. Ten paryżanin, powszechnie ceniony dla zalet swego umysłu, zarówno jak dla swego oddania szczupłemu, ale wiernemu kołu przyjaciół, zostawi po sobie powszechny żal, tak w kołach artystycznych i literackich, gdzie wiedza jego oraz subtelny smak czyniły go miłym i pożądanym gościem, jak w Jockey Clubie, którego był jednym z najdawniejszych i najwpływowszych członków. Należał też do Cercle de le Union i do Cercle Agricole. Niedawno ustąpił z Cercle de la rue Royale. Jego inteligentna fizjonomia, jak i jego ustalona reputacja budziły ciekawość publiczności przy wszelkim *great event*<sup>1133</sup> muzyki i malarstwa, a zwłaszcza na wernisażach, których pan Swann był stałym uczestnikiem aż do ostatnich lat, kiedy już rzadko tylko opuszczał mieszkanie. Wyprowadzenie zwłok odbędzie się...” itd.

Z tego punktu widzenia, jeżeli się nie jest „kims”, brak znanego tytułu przyspiesza jeszcze rozkład śmierci. Bez wątpienia, nieboszczyk jakiś jest na przykład księciem d’Uzès anonimowo, bez znamion indywidualności. Ale mitra książęca utrzymuje jakiś czas w skupieniu składniki, jak w owych starannie wymodelowanych lodach, które lubiła Albertyna; podczas gdy nazwiska arcyświatowych „ludzi nowych” natychmiast po ich śmierci rozkładają się i topnieją w bezpostaciową masę. Widzieliśmy, jak pani de Guermantes mówiła o panu Cartier jako o najlepszym przyjacielu księcia de la Tremoille, jako o człowieku bardzo poszukiwanym w arystokratycznych kołach. Dla następnego pokolenia Cartier stał się czymś tak bezkształtnym, że niemal przydałoby mu się blasku, spokrewniając go z jubilerem Cartier, gdy on sam uśmiechnąłby się niegdyś z takiej pomyłki. Przeciwnie, Swann był wybitną indywidualnością intelektualną i artystyczną i mimo że nic nie „stworzył”, miał widoki przetrwania nieco dłużej. A mimo to, drogi Karolu Swann, którego znałem, kiedy byłem jeszcze tak młody, a ty bliski grobu, jeżeli zaczynają na nowo mówić o tobie i jeżeli może będziesz żył, to dlatego że ten, którego musiałeś uważać za młodego głuptasa, uczynił cię bohaterem swojej powieści. Jeżeli przed obrazem Tissota<sup>1134</sup> przedstawiającym balkon klubu z ulicy Royale, gdzie znajdujesz się między Galiffetem, Edmundem de Polignac i Saint-Maurice, tyle mówią o tobie, to dlatego, że wiedzą, iż parę twoich rysów weszło w figurę Swanna.

Aby wrócić do ogólniejszych realności, przypomnijmy, że o tej godzinie śmierci — przepowiadanej, a jednak nieoczekiwanej — mówił przy mnie sam Swann do księżnej de Guermantes w dniu, kiedy się wybierała na raut do kuzynki. To była ta sama śmierć, której swoistą i przejmującą dziwność odnalazłem pewnego wieczora, przebiegając oczami dziennik. Wiadomość o niej wprawiła mnie w osłupienie, jak gdyby wypisana tajemniczymi, niewczesnie wstawionymi głoskami. Wystarczyły, aby zmienić żyjącego człowieka w kogoś niezdolnego już odpowiedzieć na to, co się doń mówi, w nazwisko, jedynie w nazwisko, nagle ze świata rzeczywistego przeniesione w królestwo ciszy. To te głoski budziły we mnie jeszcze teraz chęć lepszego poznania mieszkania, gdzie niegdyś rezydowali Verdurinowie i gdzie Swann, niebędący wówczas jedynie kilkoma literami widniejącymi w gazecie, tak często bywał na obiedzie z Odetą. Trzeba jeszcze dodać (co mi długo czyniło śmierć Swanna boleśniejszą od jakiejś innej, mimo iż te motywy nie miały związku z indywidualną niesamowitością jego śmierci), że nie zaszedłem do Gilberty, jak to przyrzekłem Swannowi u księżnej Marii; że on sam nie zdradził mi „innej racji”, do której robił aluzję owego wieczora i dla której uczynił mnie powiernikiem swojej rozmowy z księciem Gilbertem; że oblegało mnie tysiąc pytań (tak jak bańki zjawiają się na powierzchni wody), które byłbym mu chciał zadać w najrozmaitszych przedmiotach: Vermeer, pan de Mouchy, on sam, jakiś dywan Bouchera, Combray... Pytania te były

<sup>1133</sup>*great event* (ang.) — wielkie wydarzenie. [przypis edytorski]

<sup>1134</sup>*obraz Tissota* — na obrazie tym znajduje się w istocie postać znanego klubowca, Karola Haas, który uchodził za pierwowzór Swanna; i inwokacja ta zwraca się wyraźnie do Karola Haas. [przypis tłumacza]

zapewne niezbyt nagłące, skoro je odkładałem z dnia na dzień, ale zdawały mi się bardzo ważne, od czasu jak wargi Swanna się zamknęły, przecinając możliwość odpowiedzi.

— Ależ nie — odparł Brichot — to nie tutaj Swann spotykał przyszłą żonę, lub jeżeli tutaj, to dopiero w ostatnich czasach, po katastrofie, która częściowo zniszczyła pierwotne mieszkanie pani Verdurin.

Na nieszczęście, nie chcąc drażnić oczu Brichota zbytkiem, który mi się zdawał nie na miejscu, skoro profesor nie miał w nim udziału, wysiadłem zbyt nagle z powozu, a woźnica nie zrozumiał słów, które mu rzuciłem bardzo szybko, aby mieć czas się oddalić, zanim mnie Brichot spostrzeże. Wskutek tego woźnica podjechał za nami i spytał, czy ma zajechać po mnie. Powiedziałem spiesznie, że tak, zdwajając jeszcze objawy szacunku dla uczonego przybyłego omnibusem.

— A, pan przyjechał fiakrem — rzekł z surową miną Brichot.

— Mój Boże, całkiem przypadkowo, to mi się nie zdarza nigdy. Zawsze wędruję omnibusem lub pieszo. Ale to mi zapewni może wysoki zaszczyt odwiedzenia pana wieczorem, jeżeli się pan zgodzi wsiąść do tego gruchotu. Będzie nam trochę ciasno, ale pan jest dla mnie tak łaskawy...

„Niestety, czyniąc profesorowi tę propozycję, nie wyrzekam się niczego — pomyślałem — bo i tak muszę wracać z powodu Albertyny”. Jej obecność w domu w porze, gdy nikt nie mógł jej odwiedzić, pozwalała mi rozporządzać swoim czasem równie swobodnie co popołudniu, kiedy siedząc przy fortepianie, wiedziałem, że Albertyna wróci z Trocadéro, i kiedy mi nie było spieszo ją ujrzeć. Ale koniec końców, tak samo jak po południu, czułem, że mam kobietę i że za powrotem<sup>1135</sup> nie zaznam krzepiącej podniety samotności.

— Przyjmuję chętnie — odparł Brichot. — W epoce, którą pan wspomina, przyjaciele nasi zajmowali przy ulicy Montalivet wspaniałe parterowe pałacyk z antresolą od ogrodu, mniej zbytkowny oczywiście, ale dla mnie piękniejszy od Ambassadeurs de Venise.

Brichot powiedział mi, że tego wieczoru na „Quai Conti” (w ten sposób wierni określali salon Verdurinów, od czasu jak go tam przeniesiono) jest wielka „awantura” muzyczna, zorganizowana przez pana de Charlus. Dodał, iż w dawnych czasach, o których wspominałem, „paczka” była inna i w innym stylu, nie tylko dlatego, że „wierni” byli młodszy. Opowiedział mi kawały Elstira (nazywał to: „czyste błazeństwa”). Jednego dnia na przykład, malarz, wymówiwszy się dla pozorów, przyszedł w ostatniej chwili przebrany za lokaja i podając półmiski, szeptał skandaliczne rzeczy do ucha wielce cnotliwej baronowej Putbus, czerwonej ze zgrozy i z oburzenia; potem, zniknąwszy przed końcem obiadu, kazał wnieść do salonu wannę pełną wody, z której, kiedy goście wstali od stołu, wyłonił się całkiem nagi, klnąc głośno. Profesor wspominał również kolacje, na które przychodziło się w papierowych kostiumach, rysowanych, wycinanych, malowanych przez Elstira — istne arcydzieła. Brichot miał raz kostium magnata z epoki Karola VII<sup>1136</sup>, z trzewikami w szpic; innym razem kostium Napoleona I, na którym Elstir zrobił lakiem wielką wstęgę Legii Honorowej<sup>1137</sup>. Krótko mówiąc, Brichot, oglądając w pamięci ów miniony salon z wielkimi oknami, z niskimi kanapami, które trzeba był odnawiać, tak je zżarło południowe słońce, oświadczał, że wołał go od dzisiejszego. Oczywiście, pojmowałem, że jak słowo „kościół” oznacza nie tylko budynek o przeznaczeniu religijnym, ale zgromadzenie wiernych, tak Brichot rozumie przez „salon” nie tylko lokal, ale i ludzi którzy tam bywali, osobliwe przyjemności, których tam szukali. Rozkoszom tym dały w jego pamięci kształt owe kanapy, na których, przyszedłszy do pani Verdurin po południu, czekało się aż będzie gotowa, podczas gdy w ogrodzie kwitnące kasztany, a na kominku wazonny goździków zdawały się, przez sympatię dla gościa wyrażoną życzliwym uśmiechem różowych kolorów, niecierpliwie oczekiwać zjawienia się zapóźnionej pani domu. Ale jeżeli ów salon zdawał mu się czymś więcej niż dzisiejszy, to może dlatego, że nasz

<sup>1135</sup>za powrotem (daw.) — dziś: po powrocie. [przypis edytorski]

<sup>1136</sup>Karol VII Walezjusz (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią. [przypis edytorski]

<sup>1137</sup>Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

umysł jest jak stary Proteusz<sup>1138</sup>, niezdolny pozostać niewolnikiem żadnej formy: nawet w dziedzinie światowej wyzwała się nagle z salonu doprowadzonego powoli i z trudem do swego szczytu, aby woleć od niego dawny, mniej świetny. Podobnie nad „retuszowane” fotografie Odety (zdejmował Otto), na których elegantka ta paradowała w balowej sukni *princesse*, uczesana przez Lenthérica, przekładał Swann „wizytówkę” robioną w Nicei, na której w sukiennej pelerynce, z włosami niedbale wymykającymi się spod słomkowego kapelusza przybranego bratkami, z czarną aksamitną kokardą, o dwadzieścia lat młodszą (kobiety wyglądają zazwyczaj tym starzej, im fotografie są dawniejsze) wyglądała na pokojówkę mającą o dwadzieścia lat więcej. Może profesor znajdował też przyjemność w zachwalaniu mi tego, czego nie znałem, okazania, że kosztował niegdyś przyjemności, jakich ja nie mógłbym mieć? Udało mu się to zresztą, cytując bowiem nazwiska paru nieżyjących już osób i używając każdej z nich czegoś tajemniczego przez sposób, w jaki mówił o nich i o uroku tych przyjaźni, budził we mnie ciekawość, co to w istocie mogło być; czułem, że wszystko, co mi opowiadano o Verdurinach, było o wiele za grube; wyrzucałem sobie, że nawet na tego Swanna, którego znałem, nie dość zwracałem uwagi, że patrzyłem nań nie dość bezinteresownie, nie dość go słuchałem, kiedy mnie zabawiał, czekając aż żona wróci na śniadanie, i kiedy mi pokazywał piękne rzeczy. Czułem to teraz, kiedy wiedziałem, że można porównać Swanna z najświetniejszymi *causeurami*<sup>1139</sup> dawnych czasów.

W chwili gdyśmy wchodzili do państwa Verdurin, ujrzałem pana de Charlus, żeglującego ku nam całym olbrzymim ciałem, wlokącego bezwiednie za sobą jednego z owych apaszów<sup>1140</sup> lub oberwańców, których widok barona wywabiał teraz niechybnie z najbezludniejszych na pozór zakątków i przez których ten potężny potwór był — bardzo mimo woli — stale, choć w pewnej odległości eskortowany niby rekin przez swego pilota. Dzisiejszy pan de Charlus tworzył taki kontrast z wyniosłym obcym panem z pierwszego mego pobytu w Balbec, z jego surowym wejrzeniem, afektacją męskości, iż miałem wrażenie, że odkrywam jakąś gwiazdę w całkiem innym okresie jej obrotu i którą dopiero widzi się w całej pełni w towarzystwie jej satelity. Albo też baron wyglądał jak chory, którego choroba była przed kilku laty zaledwie lekkim i łatwym do ukrycia pryszczikiem, niepozwalającym się domyślać niebezpieczeństwa.

Mimo iż operacja wróciła Brichotowi nieco wzroku, zdawało, że już na zawsze straconego, nie wiem, czy spostrzegł draba ciągnącego się za baronem. To było dość obojętne, bo od czasu La Raspelière i mimo sympatii, jaką uczony miał dla barona, obecność pana de Charlus zawsze budziła w nim niemiłe uczucie. Bez wątpienia dla każdego z nas życie drugiego człowieka gubi się w mroku ścieżek, których nie podejrzewamy. Zapewne kłamstwo, tak często myślące, a tworzące substancję wszystkich rozmów, pokrywa nieraz uczucia wrogości lub zainteresowania lub wizytę, którą pragniemy zataić, lub jakąś eskapadę z przygodną kochanką, którą chcemy ukryć przed żoną; ale o wiele szczerzej dobra reputacja pokrywa złe obyczaje, nie pozwalając się ich nawet domyślać. Mogą pozostać nieznanne całe życie; pewnego wieczoru przypadkowe spotkanie na molo w porcie zdradzi je; a i ten przypadek bywa źle rozumiany i trzeba dopiero, aby ktoś świadomszy podał nam niepochwytne słowo zagadki<sup>1141</sup>. Ale skoro przejrzymy te obyczaje, przerażają nas, bo czujemy w nich podmuch szaleństwa o wiele bardziej niż niemoralności. Pani de Surgis nie miała ani cienia poczucia moralnego i dopuściłaby u swoich synów wszystko, co by się tłumaczyło plugawą bodaj korzyścią, zrozumiałą wszystkim. Ale zabroniła im stosunków z panem de Charlus, kiedy się dowiedziała, że regularnie jak zegarek i za każdą wizytą baron szczypie ich w policzki i każe się szczypać wzajem. Doznała owego niespokojnego uczucia fizycznej tajemnicy, podsuwającego myśl, czy sąsiad, z którym się było w tak dobrych stosunkach, nie hołduje ludożerstwu. Na ponawiane pytania barona: „Kiedyż ujrzę znowu przemilych chłopców?” odpowiadała (mimo iż wiedząc, jakie gromy ściga na siebie!), że są bardzo zajęci, że wykłady, że przygotowania do podróży itd. Co

<sup>1138</sup> *Proteusz* a. *Proteus* (mit. gr.) — bóstwo morskie, syn Posejdona i Tetydy, pasterz fok; potrafił przepowiadać przyszłość i przybierać różne postaci, by wymknąć się każdemu, kto chciał uzyskać od niego przepowiednię; odpowiadał jedynie temu, kto go skutecznie pochwylił i nie puszczał. [przypis edytorski]

<sup>1139</sup> *causeur* (fr.) — błyskotliwy rozmówca, gawędziarz. [przypis edytorski]

<sup>1140</sup> *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

<sup>1141</sup> *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

bądź by się mówiło, nieodpowiedzialność powiększa błędy, a nawet zbrodnie. O ile Landru<sup>1142</sup> (przypuściwszy, że w istocie zabił swoje żony) zrobił to z chciwości, której dałoby się oprzeć — można by go ulaskawić; ale nie można, jeśli to wynikało z nieodpartego sadyzmu.

Grube żarciki, na jakie pozwalał sobie Brichot w początkach znajomości z baronem, teraz, z chwilą gdy profesorowi chodziło już nie o prawienie komunałów, ale o zrozumienie, ustąpiły przykreemu uczuciu gaszącemu wesołość. Uspokajał sam siebie, cytując Platona<sup>1143</sup>, Wergilego<sup>1144</sup>, ponieważ będąc ślepy i duchowo, nie rozumiał, że wówczas kochać młodego człowieka było czymś takim jak dzisiaj utrzymywać tancerkę, a później się zaręczyc. Żarciki Sokratesa świadczą o tym lepiej niż teoria Platona. Sam Charlus nie byłby tego zrozumiał, on który mieszał swoją manię z przyjaźnią (niepodobną do niej w niczym), a atletów Praksytelesa<sup>1145</sup> z usłużnymi bokserami („Nabożny dworak nabożnego władcy byłby ateuszem pod monarchą bez wiary”, powiedział La Bruyère<sup>1146</sup>). Ale baron nie chciał widzieć, że od tysiąca dziewięciuset lat wszelki homoseksualizm zwyczajowy — zarówno homoseksualizm młodzieńców Platona, jak pasterzy Wergiliusza — znikł, przetrwał zaś i mnoży się jedynie homoseksualizm wrodzony, organiczny, ten co się kryje przed innymi i maskuje przed samym sobą. I pan de Charlus byłby w błędzie, nie chcąc się szczerze odrzec genealogii pogańskiej. W zamian za trochę plastycznego piękna, ileż wyższości duchowej! Pasterz Teokryta<sup>1147</sup>, wzdychający do młodego chłopca, stanie się później równie brutalny i tępy jak inny pasterz, którego fletnia rozbrzmiewa dla Amarylis<sup>1148</sup>. Bo pierwszy z nich nie jest dotknięty chorobą, jest tylko posłuszny obyczajom epoki. Jedynie homoseksualizm trwający uparcie mimo zapór, homoseksualizm wstydlivy, zohydzony, jest prawdziwy, jedyny, który jest zdolny wydać u tegoż osobnika wysubtelnienie duchowe. Drżeniem przejmując związek spraw fizycznych ze sprawami ducha; myśl, że drobne przemieszczenie czysto fizycznych skłonności, lekka skaza pewnego zmysłu sprawia, iż wszechświat poezji i muzyki, zamknięty dla księcia de Guermentes, otwiera się dla pana de Charlus. Nie dziwi nas smak pana de Charlus w urzędzeniu mieszkania ani to, że jak kobieta lubuje się w cackach; ale ta wąska szczelina otwierająca się na Beethovena<sup>1149</sup> i na Veronesego<sup>1150</sup>! Zdrowy człowiek odczuwa naturalny lęk, kiedy wariat, autor wspaniałego poematu, wytłumaczywszy niezbitcie, że go zamknięto przez pomyłkę, przez niegodziwość żony, błaga go, aby interweniował u dyrektora zakładu, po czym wyrzekając na sąsiedztwo, które mu narzucono, kończy tak: „O, ten, co rozmawiał właśnie ze mną na dziedzińcu, facet, którego towarzystwo muszę znosić, myśli, że on jest Chrystus. To jedno starczy za dowód, z jakimi wariatami mnie zamykają; nie może on być Chrystus, skoro Chrystus to jestem ja!”. Chwilę przedtem byliśmy już gotowi zwrócić uwagę psychiatry na pomyłkę. Po tych ostatnich słowach, nawet pamiętając o wspaniałym poemacie, nad którym pracuje ten sam człowiek, oddaliśmy się tak, jak synowie pani de Surgis oddalili się od pana de Charlus, nie, aby im robił coś złego, ale z powodu zbyt częstych zaproszeń, których rezultatem było szczypanie ich w policzek. Trzeba współczuć z poetą, którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki

<sup>1142</sup>Landru, Henri (1869–1922) — francuski seryjny morderca; okradł i zabijał kobiety, zwabiając je do swojego domu ogłoszeniami matrymonialnymi w prasie; w kwietniu 1919 aresztowany, w listopadzie 1921 skazany na karę śmierci za dokonanie 11 zabójstw. [przypis edytorski]

<sup>1143</sup>Platon (427–347 p.n.e.) — grecki filozof, uczeń Sokratesa, kluczowa postać w rozwoju filozofii, twórca klasycznego idealizmu; w dialogu *Uczta*, omawiającym kolejne szczeble miłości, m.in. analizuje i pochwała męską miłość homoseksualną. [przypis edytorski]

<sup>1144</sup>Wergili a. Wergiliusz, właśc. *Publius Vergilius Maro* (70–19 p.n.e.) — rzymski poeta, autor m.in. *Eneidy*, eposu narodowego Rzymian, oraz zbioru sielanek *Bukoliki* (*Eklogi*); w miłosnej *Eklogie II* przedstawia homoseksualne uczucia pasterza Korydona do innego pasterza, Aleksisa. [przypis edytorski]

<sup>1145</sup>Praksyteles (IV w. p.n.e.) — wybitny rzeźbiarz grecki z Aten, autor rzeźb bogów greckich, uwydatniających piękno ludzkiego ciała. [przypis edytorski]

<sup>1146</sup>La Bruyère, Jean de (1645–1696) — francuski pisarz, moralista, autor *Charakterów*, w których przedstawił różnorodne typy ludzkie i krytykę ówczesnego społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>1147</sup>Teokryt (ok. 310–ok. 250 p.n.e.) — grecki poeta, twórca sielanek jako gatunku literackiego; kilka z jego *Idylli* dotyczy miłości homoseksualnej. [przypis edytorski]

<sup>1148</sup>Amarylis — pasterka, w której wcześniej kochał się Korydon, pasterz z *Eklogi II* Wergiliusza, zakochany w pięknym Aleksisie. [przypis edytorski]

<sup>1149</sup>Beethoven, Ludwig van (1770–1827) — pianista i kompozytor niemiecki, jeden z klasyków wiedeńskich, prekursor romantyzmu w muzyce. [przypis edytorski]

<sup>1150</sup>Veronese, Paolo (1528–1588) — wybitny włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

i smoły<sup>1151</sup>, rzucać się w ogień spadający z nieba, aby wyłowić zeń paru mieszkańców Sodomy<sup>1152</sup>! Nie ma żadnego uroku w jego dziele; w życiu zaś jego władza ta sama surowość co w życiu zbiegłych mnichów, przestrzegających najściślejszego celibatu, aby nie można było zrzucenia sutanny przypisać czemuś innemu niż utracie wiary.

Pan de Charlus udawał, że nie widzi plugawego osobnika, który mu deptał po piętach. (Kiedy się puszczał na bulwary lub wchodził do poczekalni dworca Saint-Lazare, na tuziny liczyli się natręci, którzy w nadziei załapania paru franków nie odstępowali go na krok). Bojąc się, aby drab nie odważył się doń przemówić, baron nabożnie spuszczał poczernione rzęsy, które przez kontrast z upudrowanymi policzkami, czyniły go podobnym do wielkiego inkwizytora z obrazu El Greco<sup>1153</sup>. Ale ten rzekomy ksiądz robił straszliwe wrażenie i wyglądał na wyklętego księdza, kompromisy bowiem, do których zmuszała go konieczność usprawiedliwiania swoich gustów i chronienia ich tajemnicy, wydobyły na jego twarz właśnie to, co starał się ukryć: plugawe życie streszczone w upadku moralnym. Upadek ten bez względu na przyczynę łatwy jest do odczytania, bo niebawem materializuje się i rozlewa na twarzy, zwłaszcza na policzkach i koło oczu, tak samo konkretnie, jak chora wątroba barwi te miejsca kolorem ochry, a choroby skóry odrażającą czerwienią. Zresztą nie tylko w policzkach, a raczej fałdach uszmińkowanej twarzy, w tłustej pierśsi, w obfitym siedzeniu zwiotczałego i zalanego tłuszczem ciała widniała teraz, rozlana jak oliwa, przywara wtłaczana niegdyś przez pana de Charlus tak dyskretnie w głąb jego istoty. Teraz przelewała się w słowach.

— A, to tak, Brichot, spaceruje pan po nocy z pięknym młodzieńcem — rzekł baron, podchodząc do nas, gdy zawiedziony drab pierzchał. — Ładne rzeczy. Powie się pańskim uczniom w Sorbonie, że z pana taki numer. Zresztą towarzystwo młodych służy panu, profesorze, wygląda pan świeżo jak róża. Przeszkodziłem panom; robiliście wrażenie dwóch rozbawionych pensjonarek, nic wam po takiej jak ja babuni-pryzwoitce. Ale nie mam co sobie wyrzucać, skoro już byliście prawie na miejscu.

Baron był w wybornym humorze; nie wiedział nic o popołudniowej scenie, gdyż Jupien uznał za celowsze zabezpieczyć siostrzenicę przed nową napaścią niż uprzedzić pana de Charlus. Toteż baron wciąż wierzył w małżeństwo Morela i cieszył się nim. Zdaje się, że pociechą dla tych wielkich samotników jest dawać swemu tragicznemu celibatowi balsam urojonego ojcostwa.

— Ależ słowo honoru, profesorze — dodał baron, zwracając się ku nam — mam skrupuły, widząc pana w tak miłym towarzystwie. Wyglądaliście jak para gołąbków. Tak sobie pod ramię, słuchaj no, profesorciu, puszczasz się pan na całego.

Czy mamy szukać przyczyn takich słów w starzeniu się tej myśli, mniej już panującej nad odruchami? Czy w chwilach automatyzmu myśl pozwala się wymknąć sekretowi, troskliwie pochowanemu przez czterdzieści lat? Może przyczyną była wzgarda dla opinii plebsu wspólna w gruncie wszystkim Guermantom. (Inną formę tej wzgardy przedstawiał brat pana de Charlus, książę Błażej, kiedy nie troszcząc się o to, że moja matka może go widzieć, golił się w rozpiętej nocnej koszuli przy oknie). Może pan de Charlus w czasie swoich płomiennych wędrówek między Doncieres a Doville nabył niebezpiecznego zwyczaju folgowania sobie, i jak odsuwał w tył słomkowy kapelusz, aby ochłodzić ogromne czoło, tak samo przywykł rozluźniać, z początku tylko na chwilę, maskę od nazbyt dawna ściśle przymocowaną do jego prawdziwej twarzy? Małeńskie maniery pana de Charlus z Morelem słusznie zdziwiłyby kogoś, kto by je znał całkowicie. Ale wynikło to stąd, że jednostajność rozkoszy, jakie nastęrcza jego przywara, znużyła pana de Charlus. Szukał instynktownie nowych wyczynów, a zmęczony się przygodnymi nieznanymi, przerzucił się na przeciwny biegun, w to, czym się spodziewał brzydzić zawsze, w imitację „stadła” lub „ojcostwa”. Czasem nawet i to mu nie wystarczało; trzeba mu było czegoś nowego; wówczas szedł spędzić noc z kobietą, tak jak normalny mężczyzna może raz w ży-

<sup>1151</sup>którego nie prowadzi żaden Wergiliusz, że musi przebywać piekło siarki i smoły — odniesienie do poematu Dantego *Boska Komedia*, w którym przewodnikiem bohatera po piekle i czyśćcu jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

<sup>1152</sup>Sodoma — biblijne miasto nad Morzem Martwym, które z powodu grzechu i zepsucia zostało zniszczone przez Boga deszczem ognia i siarki (Rdz 18–19). [przypis edytorski]

<sup>1153</sup>El Greco, właśc. *Domenikos Theotokopulos* (1541–1614) – hiszpański malarz, rzeźbiarz i architekt pochodzenia greckiego; autor m.in. pełnopostaciowego portretu kardynała Fernanda Niño de Guevary (1541–1609), wielkiego inkwizytora Hiszpanii. [przypis edytorski]

ciu chcieć się przespać z chłopcem przez podobną ciekawość, w obu wypadkach na równi przewrotną i niezdrową. Egzystencja barona jako „wiernego”, żyjącego z powodu Morela jedynie w małej „paczce”, zniweczyła jego długotrwałe wysiłki mające na celu zachowanie kłamliwych pozorów; podobnie jak podróż lub pobyt w koloniach działa na wielu Europejczyków, tracących w tych warunkach zasady, jakimi rządzą się we Francji. Z tym wszystkim wewnątrzna przemiana człowieka zrazu nieświadomego swojej anormalności, później przerażonego jej odkryciem, w końcu oswojonego z nią aż do utraty poczucia, że nie można bezkarnie przyznać się przed drugimi do tego, do czego się w końcu przyznał bez wstydu przed sobą, jeszcze więcej niż pobyt u Verdurinów przyczyniła się do zniweczenia w panu de Charlus ostatnich hamulców socjalnych. W istocie żadne wygnanie na biegun południowy lub na szczyt Mont Blanc nie oddali człowieka tak bardzo od innych ludzi jak długi pobyt w atmosferze zboczenia, to znaczy w atmosferze myśli odmiennej od myśli ogółu; zboczenia (tak określał niegdyś pan de Charlus swoją przywarę), w którym baron widział teraz dobroduszną fizjonomię pospolitej wady, bardzo rozpowszechnionej, raczej sympatycznej i prawie zabawnej, jak lenistwo, roztargnienie lub łakomstwo. Czując ciekawość, jaką budziły swoiste jego cechy, pan de Charlus znajdował przyjemność w tym, aby zaspokajać tę ciekawość, aby ją podsycać, podtrzymywać. Tak jak jakiś publicysta żydowski występuje co dnia jako szermierz katolicyzmu, zapewne nie po to, aby go brano na serio, ale aby nie zawieść oczekiwania przyjaznych kpiarzy, tak pan de Charlus piętnował jowialnie w „paczce” podejrzone obyczaje, ot tak jakby przedrzeźniał angielszczyznę lub imitował Mouneta-Sully<sup>1154</sup>, nie czekając aż go poproszą, płacąc z miłą chęcią „cechę” swoim talentem. Tak oto pan de Charlus groził Brichotowi zdenuncjowaniem profesora przed Sorboną, że się „puszcza z młodymi”, podobnie jak obrzezany publicysta mówi przy każdej okazji o „starszej córce Kościoła” i o „Przenajświętszym Sercu Jezusa” — bez cienia obłudy, ale z odcieniem kabotyństwa. I byłoby ciekawe znaleźć wytłumaczenie nie tylko dla zmiany samych słów, tak odmiennych od dawniejszej konwersacji barona, ale także dla zmiany intonacji, gestów. Były one teraz szczególnie podobne do tego, co pan de Charlus najostrożniej piętnował niegdyś: wydawał teraz mimo woli prawie te same piski i okrzyki (u niego mimowolne i przez to tym głębsze), jakie wydają dobrowolnie zboczeńcy, wołający się między sobą „szelmutko”; tak jakby świadome mizdrzenie się, którego pan de Charlus był tak długo przeciwieństwem, było w istocie genialnym i wiernym naśladownictwem wzięcia, jakie mimo wszystko przybierają w końcu Charlusowie, kiedy weszli w pewną fazę choroby, tak jak paralityk lub tabetyk<sup>1155</sup> zdradzają w końcu nieuchronnie pewne objawy. Owo czysto wewnętrzne mizdrzenie się dowodziło w istocie, że między surowym, ubranym czarno Charlusem, z włosami na jeża, którego znałem niegdyś, a uszminkowanymi młodymi ludźmi noszącymi mnóstwo klejnotów zachodziła jedynie ta pozorna różnica, jaka istnieje między osobą podnieconą, mówiącą szybko i rzucającą się ciągle, a neuropatą, który mówi wolno, zachowuje stałą flegmę, ale jest takim samym neurastenikiem w oczach psychiatry, świadomego, że i jeden i drugi typ podlega podobnym lękom i dotknięty jest podobnymi skazami.

To, że pan de Charlus się zestarzał, widać było zresztą po całkiem odmiennych oznakach, jak na przykład nadzwyczaj bujne plenie się w jego rozmowie pewnych zwrotów powracających teraz co chwilę (na przykład: „splot okoliczności”), o które to zwroty słowa barona wspierały się raz po raz jak o nieodzownego opiekuna.

— Czy Charlie już jest? — spytał Brichot pana de Charlus, kiedyśmy dochodzili do bramy.

— Och, nie wiem — rzekł baron, podnosząc ręce i przymykając oczy z miną człowieka, który nie chce, aby go pomawiano o niedyskrecję, tym bardziej że cierpiał zapewne wyrzuty Morela za jakieś odezwanie się, które skrzypek uznał za ważne, mimo że było w gruncie nieznaczące. Bo Morel był równie tchórzliwy, jak próżny, i wypierał się pana de Charlus równie chętnie, jak chętnie się w niego stroił.

— Niech sobie pan wyobrazi, ja nie mam pojęcia, co on robi!

<sup>1154</sup>Mounet-Sully (pseud.), właśc. Jean-Sully Mounet (1841–1916) — francuski aktor. [przypis edytorski]

<sup>1155</sup>tabetyk (przest., z fr.) — osoba cierpiąca na uwiad rdzenia kręgowego, charakterystyczny objaw późnego stadium jednej z chorób wenerycznych. [przypis edytorski]



O ile rozmowy dwojga osób, które żyją z sobą, są pełne kłamstwa, nie mniej naturalnie rodzi się kłamstwo w rozmowach kogoś trzeciego z kochankiem na temat kochanej przezeń osoby, bez względu na jej płeć.

— Czy dawno go pan widział? — spytałem pana de Charlus, aby okazać równocześnie, że się nie boję z nim mówić o Morelu i że nie przypuszczam, aby z nim żył całkowicie.

— Zaszedł do mnie przypadkiem na pięć minut dziś rano, gdy jeszcze spałem; usiadł na moim łóżku, tak jakby mnie chciał zgwałcić.

Natychmiast powziąłem myśl, że pan de Charlus widział się z Morelem przed godziną, bo kiedy spytać kobietę, kiedy widziała mężczyznę, o którym wiemy, że jest jej kochankiem — i co do którego ona sama może przypuszcza, że świat widzi w nim jej kochanka — wówczas, jeżeli jadła z nim dopiero co podwieczorek, kobieta ta odpowiada: „Widziałam go na chwilę, przed śniadaniem”. Pomiędzy tymi dwoma faktami zachodzi tylko ta różnica, że jeden jest zmyślony, a drugi prawdziwy, ale oba są równie niewinne lub, jeśli kto woli, równie występne. Toteż nie rozumielibyśmy, czemu kochanka (w danym wypadku pan de Charlus) podaje zawsze fakt kłamliwy, gdybyśmy nie wiedzieli, że owe odpowiedzi kształtuje, bez wiedzy danej osoby, suma czynników na pozór będąca w takiej dysproporcji z błahością faktu, iż wypadnie tu autorowi przeprosić, że je bierze w rachubę. Ale dla fizyka miejsce, jakie zajmuje najmniejsza kulka bzoła, określa się zgodnością, zderzeniem lub równowagą praw przyciągania lub odpychania — praw rządzących o wiele większymi światami. Wspomnijmy tu jedynie dla pamięci chęć okazania się naturalnym i śmiałym, odruchową chęć ukrycia tajemnej schadzki, połączenie wstydlivosti i popisu, potrzebę wyznania tego, co jest tak miłe, i pokazania, że się jest kochanym, odgadywania tego, co interlokutor wie i przypuszcza, a czego nie mówi; przenikliwość, która przewyższając bystrość partnera lub nie dosięgając jej, każe ją to przeceniać, to nie doceniać; wreszcie mimowolne pragnienie igrania z ogniem i chęć przeszkodzenia jego szzerzeniu się. Tyleż różnych praw działających w przeciwnym kierunku dyktuje bardziej ogólnikowe odpowiedzi dotyczące niewinności, „platonizmu” lub przeciwnie, fizycznej konkretności czyichś stosunków z osobą, którą ów ktoś widział rzekomo rano, kiedy ją naprawdę widział wieczorem. Bądź co bądź, powiedzmy ogólniej, pan de Charlus, mimo pogorszenia jego choroby popychającej go ustawicznie do odsłaniania, insynuowania, czasem po prostu zmyślania kompromitujących szczegółów, starał się w tym okresie życia twierdzić, że Charlie nie jest z tego gatunku ludzi co on sam i że łączy ich tylko przyjaźń. Mimo że to była może prawda, nie przeszkadzało to, że baron popadał czasami w sprzeczność (na przykład co do godziny, o której widział Morela), czy że zapomniał prawdy, czy że kłamał, aby się pochwalić albo przez sentymentalizm, albo bawiąc się tym, że zmyli interlokutora.

— Pan wie, że on jest dla mnie — ciągnął baron — sympatycznym młodym koleżką, do którego jestem bardzo przywiązany, tak jak jestem pewny — czy dlatego, że wątpił o tym, lubił powtarzać, że jest tego pewny? — że on jest bardzo przywiązany do mnie; ale nie ma między nami nic więcej, rozumie pan, ani tycio — mówił baron równie naturalnie, co gdyby mówił o kobiecie. — Tak, przyszedł dziś rano wyciągać mnie z łóżka. A przecie wie, że ja nie cierpię, żeby mnie widziano w łóżku. Pan nie? Och, to jest okropne tak kogoś zaskoczyć, człowiek jest wtedy taki brzydki... Wiem, że nie mam dwudziestu pięciu lat, i nie pozuję na dziewicę, ale i tak człowiek ma swoją kokieterię.

Możebne jest, iż baron był szczery, nazywając Morela dobrym koleżką, i że mówił prawdę bardziej, niż sam przypuszczał, powiadając: „Ja nic nie wiem, co on robi, nie znam jego życia”.

Przerwijmy na chwilę opowiadanie, aby je podjąć zaraz po tym nawiasie, który otwieramy w chwili, gdy pan de Charlus, Brichot i ja zbliżamy się do siedziby pani Verdurin, i powiedzmy, że w istocie niedługo przed tym wieczorem pogrążył barona w boleści i zdumieniu list, który pan de Charlus otworzył przez nieuwagę, list zaadresowany do Morela. Ów list, który rykoszetem miał znów mnie zadać okrutne cierpienia, pisany był przez aktorkę Leę, sławną ze swego wyłącznego gustu do kobiet. Pan de Charlus nie podejrzewał nawet, że Morel ją zna: otóż jej list do Morela pisany był w tonie wręcz namiętnym. Plugastwo tego listu nie pozwala go tu przytoczyć, zaznaczmy tylko, że Lea, mówiąc do Morela, posługiwała się stale rodzajem żeńskim, pisząc: „Och, ty świntuszek!” albo:

„Ukochana, cudna, ty przynajmniej jesteś nasza, jesteś z tych, co...” itd. I była w tym liście mowa o wielu innych kobietach, najwidoczniej równie zażyłych z Morelem jak z Leą. Z drugiej strony drwiny Morela na temat pana de Charlus, a Lei na temat oficera, który ją utrzymywał, a o którym mówiła: „Błaga mnie w listach, żebym mu była wierna! Ty coś wiesz o tym, moja ty kotuśko”, odsłaniały panu de Charlus rzeczywistość równie przez niego niepodejrzewaną jak stosunki Morela z Leą — tak specjalne. Wstrząsnęły zwłaszcza barona słowa: „jesteś z tych...”. Długo nie mając o tym pojęcia, dowiedział się wreszcie (już od dawna), że on sam był „z tych”. Otóż teraz owo przez niego nabyte pojęcie staowało pod znakiem zapytania. Kiedy odkrył, że był „z tych”, rozumiał przez to, że jego gusty, jak powiada Saint-Simon, nie zwracały się w stronę kobiet. Otóż tutaj wyrażenie „z tych” nabierało rozpiętości, której pan de Charlus nie znał; u Morela o tym, że był „z tych”, świadczyć miał fakt, że miał ten sam gust do kobiet co same kobiety. Z tą chwilą zazdrość pana de Charlus nie miała już powodu ograniczyć się do męskich znajomych Morela, ale miała się rozciągnąć i na kobiety. Tak więc „z tych” były nie tylko te osoby, które on przypuszczał, ale olbrzymia część kuli ziemskiej, składająca się równie dobrze z kobiet, jak z mężczyzn, kochających nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Wobec nowego znaczenia słowa, które mu było tak znane, ogarniał barona dręczący niepokój zarówno intelektu, jak serca, zrodzony z podwójnej tajemnicy, w którą wchodziło zarazem poszerzenie jego zazdrości i nagle niedostateczność definicji.

MARCEL PROUST

## *Uwięziona, tom drugi*

### ROZDZIAŁ DRUGI (CIAĞ DALSZY)

Pan de Charlus był zawsze w życiu tylko dyletantem. To znaczy, że tego rodzaju wypadki nie mogły mu przynieść żadnego pożytku. Przykre wrażenie, pod jakim go zostawiały, wyładowywał w gwałtownych scenach, w których umiał być wymowny, lub w intrygach. Ale dla osobnika z talentem jakiegoś Bergotte’a doświadczenia takie mogłyby stać się cenne. Działyśmy w życiu po omacku, ale podobnie do zwierząt, wybierając roślinę, która nam jest zbawienna; co tłumaczy po części, że ludzie tacy jak Bergotte żyją przeważnie w towarzystwie istot miernych, fałszywych i złych. Piękność wystarcza wyobraźni pisarza, podnieca jego dobroć, ale nie przekształca w niczym natury jego towarzyszki, której życie, położone o tysiące metrów niżej, niewiarygodne stosunki, kłamstwa przekraczające wszelkie przypuszczenie, a zwłaszcza idące w odmiennym kierunku, ukazują się chwilami niby błyskawica. Kłamstwo, kłamstwo doskonałe o ludziach, których znamy, o stosunkach, jakie nas z nimi łączą, o naszych ewentualnych pobudkach sformułowanych przez nas zupełnie inaczej, kłamstwo o tym, czym jesteśmy, co kochamy, czego doznajemy wobec istoty, która nas kocha i która sądzi, że nas urobiła na swoje podobieństwo, dlatego że nas całuje przez cały dzień — to kłamstwo jest niemal jedyną rzeczą zdolną otworzyć nam perspektywy na coś nowego, nieznanego, obudzić w nas uspięne zmysły i objawić nam wszechświat, którego nigdy nie bylibyśmy poznali.

Co się tyczy pana de Charlus, trzeba powiedzieć, że o ile był zdumiony, dowiadując się o Morelu rzeczy, które ów przed nim starannie ukrywał, mylił się, wnioskując stąd, iż błędem jest wiązać się z osobnikami z ludu. Ujrzymy w istocie, w ostatnim tomie tego dzieła, samego pana de Charlus robiącego rzeczy, które bardziej zdumiałyby jego rodzinę i przyjaciół, niż jego mogło zdumieć życie odsłonięte przez Leą. (Najprzykrzejszą rewelacją była dla barona podróż, którą Morel odbył z Leą, zapewniając pana de Charlus, że przez ten czas studiował muzykę w Niemczech. Aby poprzec to kłamstwo, użył pomocy życzliwych osób, wyprawiając swoje listy do Niemiec, skąd oni przesyłali je panu de Charlus, tak zresztą przekonaniem, iż Morel w istocie tam przebywa, że nawet nie patrzył na marki<sup>1156</sup>).

<sup>1156</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

Ale już czas dogonić barona, który posuwa się z Brichotem i ze mną do bramy Verdurinów.

— A co się stało — dodał, zwracając się ku mnie — z młodym Hebrajczykiem, któregośmy spotkali w Doville? Przyszło mi na myśl, że gdyby to panu sprawiło przyjemność, można by go zaprosić któregoś wieczora.

W istocie pan de Charlus, zadowolając się bezwstydnym szpiegowaniem Morela przez biuro detektywów (zupełnie jak mąż lub kochanek), sam chętnie zerkał w stronę innych młodych ludzi. Nadzór, który polecił staremu służącemu roztaczać nad Morelem za pośrednictwem agentów, był tak mało dyskretny, iż lokaje myśleli, że to ich śledzą, a jedna z pokojówek umierała ze strachu, nie śmiała się wychylić na ulicę, myśląc, że wciąż agent depce jej po piętach. „Ależ niech sobie robi, co się jej podoba! Właśnie byśmy tracili czas i pieniądze na to, aby ją śledzić! Jakby jej prowadzenie się mogło nas w czymkolwiek obchodzić!” — wykrzykiwał ironicznie stary sługa, tak namiętnie przywiązany do pana, że nie podzielał bynajmniej gustów barona, obsługiwał je żarliwie i w końcu mówił o nich tak, jakby to były jego własne gusty. „To uosobiona zacność” — mówił o tym starym słudze Charlus, bo nikogo się nie ceni tak, jak tych, którzy ze swymi wielkimi cnotami łączą cnotę oddawania ich na usługi naszych przywar. Zresztą co się tyczy Morela, pan de Charlus zdolny był do zazdrości jedynie o mężczyzn. O kobiety nie troszczył się wcale. Jest to zresztą niemal ogólne prawidło Charlusów. Miłość kochanego przez nich mężczyzny do kobiety jest czymś innym, czymś, co się dzieje w innym gatunku zwierząt (lew zostawia tygrysy w spokoju), czymś, co im nie przeszkadza i raczej ich uspokaja. Czasem, to prawda, tych, co czynią z inwersji kapłaństwo, brzydzi taka miłość. Mają wówczas żal do przyjaciela, że się jej oddawał; żal nie o zdradę, ale o upadek. Jakiś inny Charlus, odmienny od barona, oburzyłby się wiadomością, że Morel żyje z kobietą, tak jakby się oburzył, widząc na afiszu, że on, odtwórca Bacha<sup>1157</sup> i Haendla<sup>1158</sup>, ma grać Pucciniego<sup>1159</sup>! Dlatego właśnie młodzi ludzie, którzy dla interesu poddają się miłości Charlusów, wmawiają w nich, że mają do kobiet zdecydowany wstręt, tak jak powiedzieliby lekarzowi, że nigdy nie używają alkoholu i lubią jedynie źródlaną wodę. Ale pan de Charlus odbiegał nieco w tym punkcie od powszechnej reguły. Tak dalece podziwiał w Morelu wszystko, że jego powodzenia u kobiet nie gniewały go; sprawiały mu tę samą radość co sukcesy skrzypka na koncercie lub w partyjce *écarté*<sup>1160</sup>. „Ależ, drogi panie, pan wie, kobiety lecą na niego!” — powiadał tonem rewelacji, zgorzienia, może zawiści, zwłaszcza podziwu. „On jest nadzwyczajny” — dodawał. — „Wszędzie najslawniejsze źdźziry sypią do niego oko. Wypatrują się na niego wszędzie, w metrze czy w teatrze. To się robi aż nudne! Nie mogę z nim iść do restauracji, żeby garson<sup>1161</sup> nie przyniósł mu bilecików od trzech kobiet. A zawsze od ładnych. Trudno się zresztą dziwić. Przyglądałem mu się wczoraj i rozumiem to; zrobił się bajecznie piękny, wygląda na jakiegoś Bronzina<sup>1162</sup>, jest doprawdy wspaniały”. Ale o ile pan de Charlus lubił okazywać, że kocha Morela, lubił też przekonywać innych, może i siebie, że posiada jego wzajemność. Miał tę ambicję, aby go ciągle mieć przy sobie mimo szkody, jaką ten młody człowiek mógł przynieść światowej sytuacji barona. Często zdarza się u ludzi dobrze sytuowanych, a snobów, że przez próżność zrywają wszystkie stosunki po to, aby ich wszędzie widziano z kochanką z półświatka lub jakąś wybrakowaną damą, której nikt nie przyjmuje, a której fawory wydają się im czymś pochlebnym. Bo baron doszedł do tego punktu, gdzie próżność sili się wytrwale niszczyć cele, które osiągnęła, czy że pod wpływem miłości znajdujemy niewidzialny dla innych urok w ostantacyjnych stosunkach z kochaną istotą, czy że urzeczywistnione światowe ambicje słabną, rosną zaś skłonności do pokątnych miłostek, tym bardziej absorbują-

<sup>1157</sup>Bach, Johann Sebastian (1685–1750) — wybitny niemiecki kompozytor i organista epoki baroku, jeden z największych artystów w historii muzyki. [przypis edytorski]

<sup>1158</sup>Haendel, Georg Friedrich (1685–1759) — niemiecki kompozytor, jeden z najwybitniejszych twórców muzyki późnego baroku. [przypis edytorski]

<sup>1159</sup>Puccini, Giacomo (1858–1924) — włoski kompozytor muzyki operowej, jeden z wielkich mistrzów tradycyjnej opery. [przypis edytorski]

<sup>1160</sup>*écarté* (fr.) — dawna hazardowa gra karciana dla dwóch osób, popularna w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>1161</sup>garson (z fr.) — kelner. [przypis edytorski]

<sup>1162</sup>Bronzino, właśc. Agnolo di Cosimo (1503–1572) — włoski malarz, rysownik i poeta okresu manieryzmu; autor m.in. obrazu *Portret młodego mężczyzny* (1540). [przypis edytorski]

cych, iż są platoniczne. I z czasem u barona nowe te upodobania nie tylko osiągnęły, ale przekroczyły poziom, na którym z trudem utrzymywały się dawne.

Co się tyczy innych młodych ludzi, pan de Charlus uważał, że istnienie Morela nie jest przeszkodą wobec nich i że nawet sława Morela jako pianisty<sup>1163</sup> lub jego poczynający się rozgłos jako kompozytora i dziennikarza mogłyby w pewnych razach posłużyć mu jako przynęta. Kiedy baronowi przedstawiono jakiegoś młodego kompozytora o miłej powierzchowności, szukał w talentach Morela okazji do uczczenia nowego znajomego: „Powinien by pan — powiadał — przynieść mi swoje kompozycje, Morel zagrałby je na koncercie albo na swoim tournée. Tak mało jest przyjemnej skrzypcowej muzyki, to prawdziwa gratka znaleźć w tym zakresie coś nowego. I cudzoziemcy bardzo to cenią. Nawet na prowincji są kółka muzyczne, w których pielęgnuje się muzykę z cudownym zapalem i inteligencją”.

Wszystko to służyło tylko za przynętę, rzadko bowiem zdarzało się, żeby Morel ziścił te obietnice. A gdy Bloch przyznał się, że jest trochę poetą, „w wolnych chwilach” — dodał z sarkastycznym śmiechem, którym podkreślał banalność, kiedy nie umiał znaleźć oryginalnego wyrażenia, pan de Charlus oświadczył mi z równie wątpliwą szczerością:

— Powiedz pan temu młodemu Izraelicie, że skoro pisze wiersze, powinien by mi je przynieść dla Morela. To zawsze wielka trudność dla kompozytora znaleźć coś ładnego pod muzykę. Można by nawet pomyśleć o jakimś libretcie. To by mogło być interesujące i nabrałoby pewnego znaczenia z powodu sytuacji poety, mojej protekcji, całego splotu okoliczności, wśród których talent Morela zajmuje pierwsze miejsce, bo on wiele teraz komponuje i pisze także, i bardzo ładnie, opowiem to panu. Co do jego geniuszu wykonawcy, wie pan, że pod tym względem jest już prawdziwym mistrzem. Zobacz pan dziś wieczór, jak ten smarkacz kapitalnie interpretuje Vinteuila; głupieję po prostu; w jego wieku mieć takie zrozumienie, pozostając przy tym takim dzieciakiem, takim malcem! Och, dziś jest tylko mała próba. Wielka awantura ma być za kilka dni. Ale dziś będzie o wiele bardziej elegancko. Toteż jesteśmy bardzo radzi, że pan przyszedł — rzekł baron, używając owego „my” prawdopodobnie dlatego, że król powiada: „życzymy sobie”. — Z racji wspaniałego programu poradziłem pani Verdurin, żeby zrobiła dwie uroczystości. Jedna za kilka dni, na której będą wszyscy jej znajomi, dziś druga, w której „pryncypalka”<sup>1164</sup> jest, mówiąc terminem sądowym, wywłaszczona. To ja ułożyłem listę i zebrałem trochę osób z innego świata, osób, które mogą być użyteczne dla Charliego, a które Verdurinom miło będzie poznać. Zapewne to bardzo ładnie, produkować najpiękniejsze rzeczy z udziałem największych artystów, ale cały ewenement ginie bez echa, jeśli publiczność składa się ze sklepikarki z przeciwka i kupca korzennego z rogu. Pan wie, co ja sądzę o poziomie intelektualnym światowców; ale oni mogą odegrać pewne dosyć ważne role, między innymi rolę analogiczną do prasy jako narzędzia reklamy. Rozumie pan, co mam na myśli: zaprosiłem na przykład moją bratową Orianę; nie jest pewne, czy przyjdzie, pewne natomiast jest, że jeżeli przyjdzie, nie zrozumie absolutnie nic. Ale nikt nie żąda od niej, żeby rozumiała, to przekracza jej środki duchowe; żąda się, żeby gadała, co jest do tych środków wybornie dostosowane i czego też sobie nie odmówi. Skutek: jutro zamiast milczenia sklepikarki i korzennika ożywiona rozmowa u Mortemartów, gdzie Oriana opowie, że słyszała cudowne rzeczy, że niejaki Morel itd.; nieopisana wściekłość niezaproszonych, którzy powiedzą: „Palamed uznał z pewnością, że jesteśmy niegodni; zresztą, co to za ludzie, u których się to działo!” — akompaniament równie pożyteczny jak hymny Oriany; w ten sposób nazwisko Morela powtarza się co chwila i odciska się w pamięci niby lekcja odczytana dziesięć razy z rzędu. Wszystko to stwarza splot okoliczności, który może mieć swoją wartość dla artysty, dla pani domu, może posłużyć poniekąd za głośnik dla uroczystości artystycznej udzielonej w ten sposób i dalszej publiczności. Doprawdy, że to warte trudu; zobaczy pan, jakie Charlie zrobił postępy. Objawił się w nim zresztą nowy talent, drogi panie: pisze jak anioł. Jak anioł, powiadam panu.

<sup>1163</sup>sława Morela jako pianisty — zdaje się, że w pierwszej redakcji Morel miał być pianistą, czego ślad został w tym „przepisaniu się”. [przypis tłumacza]

<sup>1164</sup>pryncypalka (przestarz.) — zwierzchniczka, przełożona. [przypis edytorski]

Pan de Charlus nie wspominał nam, że od jakiegoś czasu — jak owi wielcy panowie z XVII wieku, którzy nie raczyli podpisywać, a nawet pisać swoich pamfletów<sup>1165</sup> — kazał sporządzać Morelowi plugawe i potwarcze notatki wymierzone przeciw hrabinie Molé. Notatki te, rążące bezczelnością tych, co je czytali, o ileż musiały być dotkliwsze dla młodej kobiety odnajdującej w nich ustępy z własnych listów, cytowane dosłownie, ale w sensie, który mógł ją przywieźć do szaleństwa jako najokrutniejsza zemsta. Były zresztą tak zręcznie wsunięte, że nikt prócz niej nie mógł tego zgadnąć. Młoda kobieta przypłaciła to życiem. Ale w Paryżu — powiedziałby Balzac — wychodzi co dnia rodzaj mówionego dziennika, okrutniejszego niż inne. Ujrzymy później, że ta sama „mówiona prasa” zniweczyła później potęgę niemodnego już Charlusa i o wiele ponad niego wzniosła Morela, który nie był wart ani milionowej części swego dawnego protektora. Przynajmniej ta moda intelektualna jest naiwna i szczerze wierzy w nicość jakiegoś genialnego Charlusa i w niezaprzeczony autorytet głupiego Morela. Baron był mniej niewinny w nieubłaganych zemstach. Stąd z pewnością gorzki skurcz ust, którego fala zdawała się zalewać policzki żółcią, kiedy baron był w gniewie.

— Myślałem niegdyś — podjął pan de Charlus — że pan, który znałeś Bergotte’a, bylbys mógł, zwracając mu uwagę na próby tego młodego człowieka, współpracować w pewnym sensie ze mną, pomóc mi rozwinąć podwójny talent, muzyka i pisarza, zdolny kiedyś urósć do miary jakiegoś Berlioza<sup>1166</sup>. Pan wie, ci wielcy mają często co innego na głowie, łykają kadzidła, mało czym się interesują poza sobą. Ale Bergotte, który był naprawdę prosty i usłużny, przyrzekł mi umieścić w „Gaulois”, czy nie wiem już gdzie, te felietoniki półhumorysty, półmuzyka. To, co teraz pisze, jest równie niepospolite, i doprawdy bardzo rad jestem, że Charlie przydaje do swoich skrzypiec ten strzępek „pióra Ingres’a”. Sam wiem, że kiedy chodzi o niego, łatwo przesadzam, jak wszystkie stare mamy z konserwatorium. Jak to, mój chłopcze, nie wiedziałeś tego? To chyba mnie nie znasz z tej strony, od strony entuzjazmu. Wyczekuję godzinami u drzwi komisji egzaminacyjnej. Bawię się jak królowa. Co się tyczy prozy Charlie, Bergotte zapewniał mnie, że to jest naprawdę bardzo bardzo.

Pan de Charlus, który znał Bergotte’a od dawna przez Swanna, był w istocie u niego na kilka dni przed śmiercią pisarza z prośbą, aby wyrobił Morelowi rubrykę w dzienniku dla jego półhumorystycznych felietoników o muzyce. Idąc, miał pan de Charlus trochę wyrzutów sumienia, bo będąc wielkim wielbicielem Bergotte’a, uprzytomnił sobie, że nigdy nie był tam dla niego samego, ale po to, aby dzięki półintelektualnemu, półspołecznemu uznaniu, jakiego zażywał w oczach pisarza, wyświadczyć jakąś grzeczność Morelowi lub innemu z przyjaciół. Nie raził pana de Charlus fakt, że się posługuje „światem” już tylko po to. Z Bergotte’em było mu to trochę przykre, bo czuł, że Bergotte nie jest utylitarystą jak ludzie światowi i wart jest czegoś więcej. Ale życie barona było bardzo wypełnione; jeżeli znajdował czas, to tylko wtedy, kiedy miał wielką ochotę na coś, na przykład kiedy się to odnosiło do Morela. Co więcej, sam bardzo inteligentny, obojętny był na rozmowę człowieka inteligentnego; zwłaszcza Bergotte był na jego gust zanadto literatem i był z innego klanu, nie wchodził w jego punkt widzenia. Co się tyczy Bergotte’a, zdawał on sobie sprawę z interesowności wizyt barona, ale nie miał o to pretensji; całe życie był niezdolny do konsekwentnej dobroci, ale lubił zrobić komuś przyjemność, umiał rozumieć, a nie szukał satysfakcji w tym, aby komuś dawać naukę. Nie podzielał w żadnej mierze przywary pana de Charlus, ale raczej stanowiła ona element koloru danej osobistości, *fas et nefas*<sup>1167</sup> dla artysty, wspierające się nie na żywych przykładach, ale na wspomnieniach Platona lub Sodomy.

— Ale ciebie, piękny młodzieńcze, nieczęsto się widzi na Quai Conti. Nie nadużywasz gościnności tego domu.

Odpowiedziałem, że przeważnie dotrzymuję towarzystwa kuzynce.

— Patrzcie go! Towarzystwo kuzynki, jakie to niewinne! — rzekł pan de Charlus do Brichota. I zwracając się znów do mnie, dodał: — Ależ my nie żądamy rachunku z tego, co

<sup>1165</sup> *pamflet* (lit.) — utwór będący ostrą demaskatorską krytyką osoby, grupy lub instytucji, zwykle złośliwy, często anonimowy. [przypis edytorski]

<sup>1166</sup> *Berlioz, Hector* (1803–1869) — francuski kompozytor i dyrygent, pisarz i krytyk muzyczny; twórca symfonii dramatycznej, wprowadził w muzyce symfonicznej motyw przewodni. [przypis edytorski]

<sup>1167</sup> *fas et nefas* (lac.) — godziwie i niegodziwie. [przypis edytorski]

robisz, moje dziecię. Wolno ci robić to, co cię bawi. Żałujemy jedynie, że nie mamy w tym udziału. Zresztą ma pan wyborny gust, uroczą jest pańska kuzynka, niech się pan spyta Brichota, zaproszył ją sobie głowę w Denville. Będzie nam jej brakowało dzisiaj. Ale możeś pan dobrze zrobił, żeś jej nie przyprowadził. To cudowna rzecz, ta muzyka Vinteuil'a. Ale dowiedziałem się, że ma tu być córka autora i jej przyjaciółka, osoby o straszliwej reputacji. To zawsze kłopotliwe dla młodej panienki. Będą tutaj, chyba że nie mogły przyjechać. Miały być już popołudniu na małej domowej próbie, którą pani Verdurin urządziła i na którą zaprosiła samych nudziarzy, rodzinę, ludzi, których nie chcieliśmy mieć wieczorem. Otóż dopiero co przed obiadem Charlie powiedział nam, że to, co nazywamy „obie panny Vinteuil”, oczekiwane niezawodnie, nie przybyły.

Mimo straszliwego bólu, jaki uczulem, zestawiając nagle ze skutkiem (wyłącznie znany mi wprzód) odkrytą wreszcie przyczynę projektów Albertyny, mianowicie zapowiedzianą (ale nieznaną mi) obecność panny Vinteuil i jej przyjaciółki, zachowałem na tyle rozeznania, aby zanotować, że pan de Charlus, który oświadczył przed paru minutami, że nie widział Morela od rana, zdradził się przez nieuwagę z tym, że go widział przed obiadem.

Cierpienie moje stało się widoczne.

— Ale co panu? — rzekł baron. — Zielony pan jest; no, wejdźmy, zaziębi się pan, fatalnie pan wygląda.

Uczuciem, jakie zrodziły we mnie słowa pana de Charlus, nie były wątpliwości co do cnoty Albertyny. Wiele innych podejrzeń wdarło się już we mnie; za każdym nowym wątpliwym wydaje się nam, że miara jest przebrana, że nie zdołamy go już wytrzymać; a potem i tak znajduje sobie miejsce i skoro raz dostanie się w nasze wnętrza, ściera się z tyloma pragnieniami ufności, z tyloma powodami do zapomnienia, że dość szybko przystosowujemy się do niego, przestajemy się nim w końcu zajmować. Zostaje w nas jedynie jako ból na wpół uleczony, groźba cierpienia, która niby podszewka pragnienia, z tej samej kategorii co ono i jak ono stawszy się centrum naszych myśli, sączy w nie na nieskończoną odległość subtelne smutki — smutki, podobnie jak żądza rozkoszy, nieodgadnionego pochodzenia — wszędzie gdzie może się coś skojarzyć z myślą o tej, którą kochamy. Ale ból budzi się, kiedy w nas wstąpi całkowicie nowe wątplenie; daremnie natychmiast prawie powiadamy sobie: „Jakoś się z tym uporam, znajdzie się jakiś sposób na to, aby nie cierpieć, to nie musi być prawda”; mimo to w pierwszym momencie cierpiało się tak, jak by się wierzyło. Gdybyśmy mieli tylko członki takie jak ręce i nogi, życie byłoby znośne; na nieszczęście nosimy w sobie ten drobny organ, który zwiemy sercem, podległy pewnym chorobom, w trakcie których jest on nieskończenie wrażliwy na wszystko, co dotyczy życia danej osoby. I kłamstwo — ta rzecz niewinna i w której żyjemy tak wesoło, czy uprawiamy je my, czy kto inny — kiedy pochodzi od tej osoby, przyprawia owo małe serce (powinno by się je móc usuwać chirurgicznie) o ból nie do zniesienia. Nie mówmy o mózgu, bo chociaż nasza myśl mędrkuje bez końca w czasie tych ataków, nie zmienia ich, tak samo jak nasza uwaga nie ma wpływu na ból zębów. Niewątpliwie osoba ta winna jest, że skłamała, przysięgała przecież, że zawsze będzie nam mówiła prawdę! Ale wiemy z własnego przykładu w stosunku do innych, co warte są przysięgi. I chcieliśmy im dawać wiarę, kiedy pochodziły od niej, mającej właśnie wszelki interes w tym, aby nam skłamać i nie wybranej zresztą przez nas dla swoich cnót. Prawda, że później — właśnie kiedy serce stanie się obojętne na kłamstwo — nie potrzebowałaby już prawie wcale kłamać, dlatego że już nie będziemy się interesowali jej życiem. Wiemy to, mimo to poświęcamy chętnie nasze życie, bądź zabijając się dla tej osoby, bądź idąc na śmierć za zabicie jej, bądź po prostu wydając dla niej w kilka wieczorów cały majątek, co nas zmusza później do samobójstwa, bo nie mamy już nic. Zresztą choćbyśmy się czuli najspokojniejsi, w czasie gdy kochamy, miłość znajduje się w sercu zawsze w stanie niestałej równowagi. Lada co wystarczy, aby ją przechylić w stronę szczęścia; promieniejemy, obsypujemy czułościami nie tę, którą kochamy, ale tych, co nas podnieśli w jej oczach, co ją ustrzegli od wszelkiej pokusy; i myślimy, że jesteśmy spokojni, a wystarczy jednego słowa: „Gilberta nie przyjdzie” albo „zapowiedziała się panna Vinteuil”, aby całe przygotowane szczęście, do którego wyciągaliśmy ręce, runęło w gruzy, aby się słońce schowało, aby się wiatr zmienił i aby się rozpętała wewnętrzna burza, której pewnego dnia nie będziemy się już zdolni oprzeć. W tym dniu, w dniu, kiedy serce stało się tak

kruche, przyjaciele darzący nas swoim podziwem cierpią nad tym, że takie nic, taka istota może nam zadać ból, może nas uśmiercić. Ale co poradzą na to? Kiedy poeta umiera na zapalenie płuc, czy możemy sobie wyobrazić przyjaciół tłumaczących pneumokokom, że poeta ma talent i że pneumokoki powinny by go oszczędzić?

Podejrzanie dotyczące się panny Vinteuil nie było bezwzględnie nowe. Ale moja popołudniowa zazdrość o Leę i jej przyjaciółki stłumiła je poniekąd. Skoro tamto niebezpieczeństwo znikło, uczulem spokój, sądziłem, że go odzyskał na zawsze. Ale nowy był dla mnie zwłaszcza pewien spacer, o którym Anna powiedziała mi: „Byliśmy tam a tam, nie spotkałyśmy nikogo”, gdy przeciwnie, panna Vinteuil umówiła się na tym spacerze z Albertyną do pani Verdurin. Teraz pozwoliłbym chętnie Albertynie wychodzić samej, chodzić gdzie tylko chce, bylebym mógł gdzieś zamknąć pannę Vinteuil i jej przyjaciółkę i mieć pewność, że ich Albertyna nie spotka. Bo zazdrość jest przeważnie cząstkowa, o zmiennych lokalizacjach, bądź dlatego że jest bolesnym przedłużeniem niepokoju wywołanego to przez tę, to przez inną osobę, którą kochanka nasza mogłaby pokochać, bądź wskutek ograniczenia naszej myśli, zdolnej pojąć jedynie to, co sobie wyobraża, resztę zaś zostawiającej w stanie mglistym, prawie bezbolesnym.

W chwili gdyśmy mieli zadzwonić do bramy, złapał nas Saniette, który oznajmił, że księżna Szerbatow umarła o szóstej, i dodał, że nas nie poznał od razu.

— Patrzyłem przecież na was od dłuższej chwili — rzekł zdyszany. — Nie jesteście ciekawe, że się zawahał? — „Czy to nie ciekawe” wydałoby mu się błędem; upodobanie w staroświeckich zwrotach przechodziło u niego w manię. — A przecież panowie stanowicie znajomość, do której można się przyznać. — Jego ziemista cera zdawała się oświetlona ołowianym blaskiem burzy. Zadyszka, która jeszcze tego lata zjawiała się jedynie wtedy, kiedy pan Verdurin „mył mu głowę”, była teraz stała. — Wiem, że wyborni artyści, osobliwie Morel, mają wykonać niewydane dzieło Vinteuila.

— Czemu osobliwie? — spytał baron, który dopatrywał się w tym przysłówku krytyki.

— Nasz przyjaciel Saniette — pośpieszył Brichot, obejmując rolę tłumacza — jako niepospolity erudyta<sup>1168</sup> mówi chętnie językiem epoki, w której „osobliwie” znaczyło „zwłaszcza”.

Kiedyśmy wchodzili do przedpokoju, pan de Charlus zapytał mnie, czy pracuję. Kiedy odrzekłem, że nie, ale że bardzo się w tej chwili interesuję starym srebrem i porcelaną, powiedział, że nigdzie nie zobaczą piękniejszych rzeczy niż u Verdurinów; byłbym je zresztą mógł oglądać w La Raspelière, bo pod pozorem, że przedmioty są też przyjaciółmi, Verdurinowie robili to szaleństwo, że wszystko zabierali z sobą. Baron dodał, że trochę kłopotliwe jest wyciągać dla mnie wszystko w dniu proszonego wieczoru, ale postara się, aby mi pokazano, co zechcę. Poprosiłem, żeby tego nie robił. Pan de Charlus rozpiął palto, zdjął kapelusz; ujrzałem, iż głowa jego srebrzy się miejscami. Ale baron robił wrażenie cennego krzewu, przybierającego jesienne barwy, którego liście ochroniono, zawijając w watę lub umocowując gipsem; kilka siwych włosów na wierzchołku dopełniało jedynie pstrokacizny twarzy. A jednak nawet pod warstwami rozmaitych wyrazów, szminek i hipokryzji, które ją maskowały tak lichy, twarz pana de Charlus wciąż ukrywała niemal całemu światu sekret, który dla mnie wprost z niej krzyczał. Byłem niemal zażenowany jego oczami; bałem się, aby mnie nie schwycił na tym, że w nich czytam ten sekret jak w otwartej księżce; zażenowany jego głosem, który mi powtarzał ten sekret na wszystkie tony z niestrudzonym bezwstydem. Ale tajemnice takich ludzi są bezpieczne, bo wszyscy w ich pobliżu stają się głusi i ślepi. Osoby dowiadujące się prawdy pośrednio, przez Verdurinów na przykład, wierzyły w nią, ale tylko póty, póki nie znały pan de Charlus. Jego twarz nie tylko nie potwierdzała brzydkich pogłosek, ale rozpraszała je. Tworzymy sobie o pewnych abstrakcjach pojęcie tak wielkie, że nie umielibyśmy ich utożsamiać z poufalszymi rysami znajomej osoby. I z trudnością uwierzmy w tego rodzaju przywary, jak nie uwierzmy nigdy w geniusz człowieka, z którym jeszcze wczoraj byliśmy w Operze.

Pan de Charlus oddawał do szatni palto ze swobodą stałego gościa. Ale lokaj przy szatni był nowy, bardzo młody. Otóż pan de Charlus tracił obecnie często to, co się nazywa „busołą”, i nie zdawał już sobie sprawy z tego, co przystoi, a co nie przystoi.

<sup>1168</sup>erudyta — człowiek mający rozległe, wszechstronne wykształcenie, wiedzę książkową. [przypis edytorski]

Jego znana nam z Balbec chwalebna chęć pokazania, że go nie przerażają pewne tematy, że się nie boi rzec o kimś: „Ładny chłopiec”, słowem, powiedzieć to samo, co mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”, teraz przeciwnie, wyrażała się często mówieniem rzeczy, których nie mógłby powiedzieć ktoś niebędący z „takich”. Rzeczy te zaprzętały go tak ustawicznie, iż baron zapominał, że nie wszyscy wciąż o nich myślą. Toteż patrząc na nowego lokaja, podniósł palec i myśląc, iż robi wyborny żart, rzekł:

— Słuchaj, zabraniam ci robić do mnie oko w ten sposób. — Po czym, obracając się do Brichota, dodał: — Ma zabawną buziulkę ten mały, pocieszny ten nosek. I kontynuując swój żarcik lub odczuwając przyływ żądz, opuścił poziomo palce, zawahał się chwilę, po czym, nie mogąc się wstrzymać, wysunął nieodparcie palec prosto ku lokajowi i dotknął mu końca nosa, mówiąc: „Pif”.

„Ucieszna buda” — pomyślał lokaj, który pytał później kolegów, czy baron jest kawalarz czy bzik. „Takie już ma maniery — odparł *maître d’hôtel*<sup>1169</sup> (który miał barona trochę za narwanego, trochę z „fiolem”) — ale to wielki przyjaciel państwa, godny człowiek, złote serce”.

— Czy pan będzie w tym roku w Incarville? — spytał mnie Brichot. — Zdaje się, że nasza pryncypalka wynajęła znów La Raspelière, mimo że miała kłopoty z właścicielami. Ale to nic, takie chmury łatwo się rozpraszają — dodał tym samym optymistycznym tonem, jakim dzienniki mówią: „Popelniono błędy, oczywiście, ale któż nie popełnia błędów?”. Ale ja pamiętałem, w jakim stanie opuściłem Balbec, i nie pragnąłem bynajmniej tam wrócić. Odkładałem z dnia na dzień projekty w związku z Albertyną.

— Ależ rozumie się, że przyjedzie, pragniemy tego, nieodzowny nam jest — oświadczył pan de Charlus z autorytatywnym i nic ni rozumiejącym egoizmem uprzejmości.

W tej chwili Verdurin wyszedł na nasze spotkanie. Verdurin, któremu złożyliśmy kondolencje z powodu księżnej Szerbatow, rzekł:

— Tak, wiem, że z nią niedobrze.

— Ależ nie, umarła o szóstej! — wykrzyknął Saniette.

— Pan zawsze przesadza — odparł brutalnie Verdurin, który wobec tego, że wieczoru nie odwołano, wołał przyjąć hipotezę choroby, bezwiednie naśladowując w tym księcia de Guermantes.

Saniette, nękaną obawą przeziębienia, bo bramę ustawicznie otwierano, czekał z rezygnacją, aby wzięto jego rzeczy.

— Co pan tam tak waruje jak pies? — spytał go Verdurin.

— Czekam, żeby ktoś z tych, co czuwają koło rzeczy, wziął mój paltot<sup>1170</sup> i dał mi numer.

— Co pan plecie? — spytał go surowo pan Verdurin. — „Co czuwają koło rzeczy”. Czy pan się robi ramol? Mówi się: „pilnują rzeczy”. Widzę, że pana trzeba uczyć po francusku jak kogoś, kto miał atak paraliżu.

— Czuwać koło czegoś to jest właściwa forma; ksiądz Le Batteux<sup>1171</sup>...

— Drażnisz mnie pan! — wykrzyknął Verdurin straszliwym głosem. — Jak pan sapie! Czyś się pan drapał na szóste piętro?

Brutalność Verdurina miała ten skutek, że lokaje z szatni przepuścili inne osoby przed Saniette’em, kiedy zaś ów chciał podać rzeczy, odpowiedziano mu:

— Po kolei, proszę pana, niech się pan tak nie spieszy.

— Oto mi porządek, tak się należy, brawo, dobrzy ludzie — rzekł z uśmiechem sympatii Verdurin, umacniając lokajów w intencji załatwienia Saniette’a dopiero po wszystkich. — Chodź pan — rzekł — to bydlę chce nas wszystkich uśmiercić w swoim ulubionym przeciagu. Pójdźmy się trochę ogrzać do salonu. „Czuwać koło rzeczy!” — wykrzyknął jeszcze, kiedyśmy się znaleźli w salonie. — Co za dureń!

— Robi się zmanierowany, ale to nie jest zły chłopak — rzekł Brichot.

— Ja nie mówiłem, że jest zły; mówiłem, że idiota — odparł cierpko Verdurin.

<sup>1169</sup>*maître d’hôtel* (fr.) — tu: kamerdyner, starszy lokaj nadzorujący służbę. [przypis edytorski]

<sup>1170</sup>*paltot* (z fr., daw.) — palto, okrycie wierzchnie. [przypis edytorski]

<sup>1171</sup>*Batteux, Charles* (1713–1780) — francuski filozof, znany zwłaszcza z pism z zakresu estetyki, członek Akademii Nauk; autor m.in. obszernego traktatu *Principes de la littérature* (Zasady literatury, 1774). [przypis edytorski]



Tymczasem pani Verdurin odbywała wielką naradę z Cottardem i ze Skim. Morel odrzucił świeżo zaproszenie do domu, gdzie pani Verdurin przyrzekła jego udział, a odrzucił dlatego, że pan de Charlus nie mógł tam być. Racja odmowy Morela grania u przyjaciół pani Verdurin — racja, do której, jak ujrzymy za chwilę, przyłączą się inne, o wiele poważniejsze — mogła być w związku ze zwyczajem właściwym na ogół sferom próżniaczym, ale specjalnie tej „paczce”. Zdarzało się, że pani Verdurin podchwyciła między „nowym” a „wiernym” jakieś słówko powiedziane półgłosem, a mogące budzić przypuszczenie, że oni się znają albo mają chęć zbliżyć się z sobą („Zatem w piątek tam a tam” albo „Niech pan zajdzie kiedyś do mnie do pracowni, zawsze jestem do piątej, zrobi mi pan prawdziwą przyjemność”). Wówczas, wzburzona, podejrzewając w „nowym” świetną zdobycz dla małego klanu, „pryncypalka”, udając, że nic nie słyszała, i wciąż zachowując w pięknych oczach podkrążonych przez nałóg Debussy’ego<sup>1172</sup> (nałóg groźniejszy od kokainy) wyraz znużenia, związany nierozdzielnie z upojeniami muzyki, toczyła mimo to, pod swoim wspaniałym czołem, wysklepionym przez tyle kwartetów i związanych z nimi migren, myśli nie wyłącznie polifoniczne; wreszcie nie mogąc już wytrzymać, nie mogąc już czekać ani sekundy na ten „zastrzyk” moralny, rzucała się na dwóch rozmawiających, odciągała ich na stronę i mówiła do „nowego”, wskazując „wiernego”: „Czy nie zechciałby pan przyjść na obiad z nim na przykład w sobotę albo kiedy pan zechce, w miłej kompanii! Nie mówcie o tym za głośno, bo nie chcę zapraszać całego zbiegowiska” (termin określający na te pięć minut „paczkę”, wżgardzoną chwilowo dla „nowego”, przedmiotu tyłu nadziei).

Ale ta potrzeba entuzjazmu, a także kojarzenia, miała swoją przeciwwagę. Kult „srody” rodził u Verdurinów przeciwną chętkę. Była nią żądza skłócenia, oddalenia. Umocniły ją, doprowadziły niemal do szału miesiące w La Raspelière, gdzie widywano się od rana do wieczora. Verdurin wysiłał się, aby kogoś złapać na jakimś przestępstwie, snuł przędzę, w którą mógłby napędzić swojej pajęczycy niewinną muszkę. W braku istotnych win czepiano się śmiesznośtek. Z chwilą gdy „wierny” wyszedł na pół godziny, drwiono z niego wobec innych, dziwiono się, że nie zauważyli, jakie ma zawsze brudne zęby, lub przeciwnie, że je czyści maniacko dwadzieścia razy dziennie. Jeżeli ktoś się ośmielił otworzyć okno, ten brak wychowania powodował wymianę oburzonych spojrzeń „pryncypała” i „pryncypalki”. Po chwili pani Verdurin kazała sobie podać szal, co pozwalało panu Verdurin powiedzieć z wściekłą miną: „Ale nic, zamknę okno; ciekawym, kto sobie pozwolił otworzyć je” — w obecności winnego, który się rumienił po uszy. Wymawiano gościowi niemal ilość wypitego wina. „Czy to panu nie szkodzi? Pije pan jak robociarz”. Wspólne spacerowanie dwóch „wiernych”, którzy uprzednio nie opowiedzieli się „pryncypałce”, pociągały nieskończone komentarze, choćby spacer był najniewinniejszy. Spacerowanie pana de Charlus z Morelem były mniej niewinne. Jedynie fakt, że baron nie mieszkał w La Raspelière (z powodu służby wojskowej Morela), opóźnił moment przesytu, wstrętu, mdłości; ale moment ten miał niebawem nadejść.

Pani Verdurin była wściekła i gotowa „oświecić” Morela co do śmiesznej i wstrętnej roli, jaką mu narzucał pan de Charlus. Kiedy pani Verdurin czuła, że jest komuś winna uciążliwą dla niej wdzięczność, nie mogąc zamordować tego człowieka z obawy kryminału, odkrywała w nim poważną wadę, zwalniającą jej sumienie od wdzięczności. — „Doprawdy — mówiła — jego fasony u mnie wcale mi się nie podobają”. Bo w istocie pani Verdurin miała poważniejsze pretensje do pana de Charlus niż o ten opór Morela wobec zaproszenia przyjaciół. Przejęty zaszczytem, jaki wyświadczył „pryncypałce”, sprowadzając na Quai Conti osoby, które w istocie nie byłyby tam przyszły dla niej samej, baron założył przy pierwszych nazwiskach, które zaproponowała pani Verdurin, najformalniejszy protest. Stanowczy jego ton łączył drażliwość kostywnego magnata, despotyzm artysty i mistrza od takich fet, raczej skłonnego cofnąć się i odmówić swego udziału niż zniżyć się do ustępstw niweczających jego zdaniem całość. Pan de Charlus zaaprobował, mimo iż nie bez zastrzeżeń, jedynie Saintine’a, z którym aby nie przyjmować jego żony, pani de Guermantes przeszła od codziennych stosunków do zupełnego zerwania, ale z którym pan de Charlus, ceniąc jego inteligencję, wciąż się stykał. Zapewne Saintine,

<sup>1172</sup>Debussy, Claude (1862–1918) — francuski kompozytor, przedstawiciel impresjonizmu muzycznego. [przypis edytorski]

niegdyś kwiat salonu Guermantów, postarał się szukać fortuny i (jak sądził) punktu oparcia w mieszczaństwie skrzyżowanym z drobną szlachtą, w sferze, gdzie wszyscy są tylko bardzo bogaci i spowinowaceni z arystokracją, ale taką, którą wielka arystokracja ignoruje. Ale pani Verdurin, znając arystokratyczne pretensje sfer pani Saintine, a nie zdając sobie sprawy z sytuacji męża (bo wrażenie wysokości daje nam to, co jest trochę powyżej nas, nie zaś to, co jest nam prawie niewidoczne, tak dalece gubi się w obłokach), sądziła, iż musi usprawiedliwić zaproszenie pana Saintine, podkreślając, że on „ma wiele stosunków jako mąż panny X”. Ciemnota, o jakiej świadczył ten pogląd, diametralnie sprzeczny z prawdą, sprawiła, że na pomalowanych wargach barona wykwitł uśmiech pobłażliwej wzgardy i szerokiej tolerancji. Nie raczył odpowiedzieć wprost, ale ponieważ chętnie budował w materii światowej teorii, w których wyrażała się jego bujna inteligencja oraz wyniosła duma, rzekł, potwierdzając tym dziedziczną błahość swoich zainteresowań:

— Saintine powinien był się mnie poradzić, zanim się ożenił; istnieje eugenika<sup>1173</sup> socjalna, jak eugenika fizjologiczna, a ja jestem może jedynym jej doktorem. Wypadek Saintine’a nie podlegał dyskusji; jasne było, że żeniąc się w ten sposób, wiąże sobie kulę u nogi i chowa własne światło pod korcem. Jego kariera była skończona. Byłbym mu to wytłumaczył i zrozumiałby mnie, bo jest inteligentny. Na odwrót, istniała pewna osoba, posiadająca wszystko co trzeba, aby mieć sytuację wysoką, dominującą, uniwersalną, tylko straszliwy kabel wiązał ją do ziemi. Pomogłem jej wpół namową, wpół siłą zerwać linię i teraz osoba ta zdobyła triumfalną wolność, wszechpotęgę, którą zawdzięcza mi; trzeba było może trochę wysiłku woli, ale jakaż nagroda! W ten sposób, ktoś kto mnie umie słuchać, sam jest kowalem swojego losu.

Było aż nadto oczywiste, że pan de Charlus nie umiał pokierować swoim; inna rzecz działać, a inna mówić, nawet wymownie, i myśleć, nawet inteligentnie.

— Co się mnie tyczy — ciągnął baron — żyję jak filozof obserwujący ciekawie reakcje społeczne, które przepowiedziałem; ale nie pomagam im. Toteż zachowałem stosunki z Saintinem, który zawsze miał dla mnie ów żarliwy szacunek, jaki mi się należy. Byłem nawet u niego na obiedzie na nowym mieszkaniu, gdzie pośród największego zbytku ludzie nudzą się tyle, ile bawili się dawniej, kiedy, trochę po cygańsku, zbierał w małej klitce najlepsze towarzystwo. Może go pani zaprosić, zgoda, ale zgłaszam *veto* wobec wszystkich innych nazwisk, które mi pani proponuje. I podziękuję mi pani za to, bo o ile jestem ekspertem od małżeństw, jestem również ekspertem od przyjęć. Znam osoby, które podciągają zebrania wzwyż, dają im rozmach, polot, i znam nazwiska, które strącają je na ziemię, na płask.

Ten ekskluzywizm pana de Charlus nie zawsze wspierał się na urazach człowieka pomylonego lub na wyrafinowaniach artysty; czasem płynął z ambicji aktora. Kiedy baron wygłosił o kimś lub o czymś tyradę szczególnie udaną, chciał ją zaprodukować możliwie największej ilości osób, bacząc przy tym, aby do nowej partii zaproszonych nie dopuścić gości z pierwszej partii, zdolnych stwierdzić, że brawurowy „kawałek” nie uległ zmianie. Zmieniał publiczność właśnie dlatego, że nie zmieniał programu; osiągnąwszy w rozmowie sukces, chętnie zorganizowałby tournée i występy na prowincji.

Jakie bądź były pobudki tych ostracyzmów, kaprysy barona nie tylko drażniły panią Verdurin, dotkniętą w powadze gospodyni, ale biorąc rzecz światowo, wyrządzały jej wielkie szkody; a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze pan de Charlus, jeszcze drażliwszy od Jupiena, zrywał bez wiadomego powodu z osobami najbardziej stworzonymi na jego przyjaciół. Oczywiście jedną z pierwszych kar, jaką im wymierzał, było niezapraszanie ich na przyjęcia, które organizował u Verdurinów. Otóż wśród tych pariasów<sup>1174</sup> byli często ludzie bardzo dobrze sytuowani, którzy dla pana de Charlus tracili ten przymiot z chwilą, gdy się z nimi poróżnił. Bo jego wyobraźnia, tak skora przypisywać ludziom winy po to, aby się z nimi poróżnić, celowała w odzieraniu ich z wszelkiego znaczenia, z chwilą gdy

<sup>1173</sup>eugenika (z gr. *eugenēs*: dobrze urodzony) — system poglądów postulujący ulepszanie gatunku ludzkiego poprzez tworzenie warunków pozwalających na rozwój dodatnich cech dziedzicznych i ograniczenie cech ujemnych, w szczególności przez świadome macierzyństwo i odpowiednie dobieranie się przyszłych rodziców pod względem cech dziedzicznych tak, aby unikać sprowadzania na świat dzieci chorych i słabych. Pojęcie wykorzystywane w ideologii nazistowskiej, po drugiej wojnie światowej stało się niepopularne. [przypis edytorski]

<sup>1174</sup>parias — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

stracili jego przyjaźń. Jeżeli na przykład winny był człowiekiem z rodziny bardzo starej, ale z tytułem książęcym, datującym dopiero od XIX wieku (jak np. Montesquiou), z dnia na dzień liczyła się dla pana de Charlus jedynie dawność tytułu, rodzina była niczym.

— To nie są nawet książęta! — wykrzykiwał. — Po prostu tytuł księcia de Montesquiou przeszedł nieprawnie na jego krewniaka, niespełna osiemdziesiąt lat temu. Obecny „książe”, jeżeli można go tak nazywać, jest trzeci z kolei. Gadaj mi pan o takich ludziach jak Uzès, La Trémoille, jak Luynes, dziesiątych i czternastych diukach; jak mój brat, dwunasty diuk de Guermantes, a siedemnasty książę Kordowy! Montesquiou są ze starej rodziny, więc co? Czegóż by to dowodziło, nawet gdyby było dowiedzione? Tak starej, że aż zmurszałej.

Jeżeli przeciwnie, baron poróżnił się z arystokratą, diukiem z dziada pradziada, mającym wspaniałe parantele<sup>1175</sup>, spokrewnionym z panującymi, ale z rodu, któremu ten blask przyszedł nader szybko i nie sięgał zbyt dawno, jak na przykład Luynes, wszystko było odwrotnie: sam ród się liczył.

— Pytam się was, powiedzcie, taki pan Alberti ledwie oskrobany z chamstwa za Ludwika XIII<sup>1176</sup>! Cóż to ma za znaczenie, że łaska dworu pozwoliła im zgromadzić diukostwa, do których nie mieli żadnego prawa?

Co więcej, u pana de Charlus, upadek następował tuż po szczytach łaski, z racji owej natury Guermantów, skłonnej wymagać od rozmowy, od przyjaźni tego, czego one nie mogą dać — z dodatkiem znamienego lęku przed obmową. A upadek był tym głębszy, im łaska była większa. Otóż nikt nie cieszył się u barona łaską równą tej, jaką ostentacyjnie okazywał hrabinie Molé. Przez jakiś niedostatek gorliwości hrabina dowiodła pewnego dnia, że jest tej łaski niegodna? Nigdy nie mogła tego odgadnąć. Faktem jest, że samo jej nazwisko budziło furję barona, jego najwymowniejsze i najzjadliwsze filipiki<sup>1177</sup>. Pani Verdurin, dla której pani Molé była bardzo uprzejma i która, jak to ujrzymy, podkładała w niej wielkie nadzieje, cieszyła się z góry myślą, że hrabina spotka u niej ludzi najlepiej urodzonych z całej — jak mówiła „pryncypałka” — „Francji i Nawarry<sup>1178</sup>”; zaproponowała też natychmiast, żeby zaprosić „panią de Molé”.

— Och, mój Boże, rozumiem wszystkie gusty — odparł pan de Charlus — i jeżeli pani lubi pogwarzyć z panią Puszczalską, z panią Bajdalską albo z panią Prudhomme<sup>1179</sup>, nie mam nic przeciwko temu; ale niech to się stanie w dniu, kiedy mnie nie będzie. Widzę od pierwszych słów, że nie mówimy wspólnym językiem, skoro ja pani wymieniam nazwiska arystokratyczne, a pani mi cytuje najobskurniejszych parweniuszów, lyków<sup>1180</sup>, krętaczy i plotkarzy, damulki uważające się za protektorki sztuki, dlatego że malują sposób bycia mojej bratowej Guermantes, na kształt sroki, która myśli, że udaje pawia. Dodam, że byłoby grubą nieprzyzwoitością na fetę, którą raczę urządzić u pani Verdurin, wprowadzać osobę nie bez powodu wykluczoną z mojego towarzystwa, gęś bez urodzenia, bez lojalności, bez inteligencji, na tyle niepoczytalną, aby sobie wyobrażać, że może grać diuszesy i princessy de Guermantes — połączenie, będące samo w sobie głupstwem, skoro księżna Maria i księżna Oriana stanowią właśnie dwa przeciwne bieguny. To tak jakby aktorka miała pretensję być równocześnie panną Reichenberg i Sarą Bernhardt. W każdym razie, nawet gdyby to nie było absolutnie sprzeczne, byłoby głęboko komiczne. To, że ja mogę, ja, uśmiechać się czasem z przesady jednej, a martwić się ograniczeniem drugiej, to moje prawo. Ale ta mieszczańska żaba nadymająca się, aby dorównać dwom wielkim damom, które bądź jak bądź błyszczą zawsze nieporównaną dystynkcją rasy, to, jak to mówią, koń

<sup>1175</sup> *parantela* (z łac.) — powinowactwo, powiązania rodzinne, zwłaszcza ze znanym rodem; krewni należący do tego samego rodu. [przypis edytorski]

<sup>1176</sup> *Ludwik XIII* (1601–1643) — król Francji (od 1610); do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

<sup>1177</sup> *filipika* — żarliwa mowa oskarżycielska; nazwa od mów Demostenesa (384–322 p.n.e.) skierowanych przeciw Filipowi Macedońskiemu. [przypis edytorski]

<sup>1178</sup> *Nawarra* — kraina hist. w zach. części Pirenejów, na pograniczu Hiszpanii i Francji; od 824 stanowiła niezależne królestwo, od 1589 związana z Francją unią personalną, w 1620 została formalnie włączona do Francji; tytuł króla Nawarry zachował się w tytulaturze władców francuskich aż do obalenia monarchii. [przypis edytorski]

<sup>1179</sup> *pan i pani Prudhomme* — karykaturalna para francuskich mieszczan, bohaterowie twórczości karykaturzysty i dramaturga Henry’ego Monniera (1799–1877). [przypis edytorski]

<sup>1180</sup> *lyk* (daw., pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

by się uśmieł. Imćpani Molé! Proszę już nie wspominać tego nazwiska, albo nie pozostaje mi już nic, jak tylko się usunąć — dodał z uśmiechem, tonem lekarza, który pragnął dobrą pacjenta wbrew jemu samemu, nie pozwoli sobie narzucić konsylium z homeopatą.

Z drugiej strony niektóre osoby, uznane za „nicość” przez pana de Charlus, mogły być w istocie nicością dla niego, ale nie dla pani Verdurin. Przy swoim urodzeniu pan de Charlus mógł się obejść bez ludzi najwytworniejszych, których obecność uczyniłaby salon pani Verdurin jednym z pierwszych w Paryżu. Otóż pani Verdurin zaczynała uważać, że już wiele razy chybiła sposobności, nie licząc olbrzymiego opóźnienia, o jakie ją przyprowadziła omyłka (ze światowego punktu widzenia) w sprawie Dreyfusa<sup>1181</sup>, oddając jej co prawda zarazem przysługę. Nie wiem, czym<sup>1182</sup> opowiedział, jak niemile widziała pani de Guermantes to, że osoby z jej świata, poddając wszystko kryteriom Sprawy, wykluczały kobiety eleganckie, a przyjmowały nieeleganckie, zależnie od ich stosunku do Dreyfusa; po czym ją samą znowuż krytykowały te same panie jako „letnią, źle myślącą” i poddającą światowym etykietkom interesy Ojczyzny; czy mógłbym spytać o to czytelnika, jak przyjaciela, kiedy po tylu kolejach rozmowy nie przypominamy już sobie, czyśmy pamiętali i czyśmy mieli sposobność zapoznania go z pewnymi sprawami. Czy to zrobiłem, czy nie, łatwo sobie wyobrazić zachowanie się pani de Guermantes w owej chwili; a nawet, jeśli się przeniesiemy w późniejszy okres, uznać je ze światowego punktu widzenia, za zupełnie słuszne. Pan de Cambremer uważał sprawę Dreyfusa za zagraniczną intrygę, mającą na celu zniszczenie Service des Renseignement<sup>1183</sup>, złamanie dyscypliny, osłabienie armii, rozdwojenie Francuzów, przygotowanie najazdu. Ponieważ literatura była, poza paroma bajkami La Fontaine’a<sup>1184</sup>, obca margrabiemu, zostawiał żonie trud stwierdzenia, że literatura wsparta na okrutnej obserwacji działała równie wywrotowo, stwarzając atmosferę nieuszanowania. „Panowie Reinach<sup>1185</sup> i Hervieu<sup>1186</sup> zwąchali się” — powiadała.

Nie będziemy pomawiali sprawy Dreyfusa o knucie równie czarnych planów w stosunku do „świata”. Ale to pewne, że skruszyła ona jego ramy. Światowcy, którzy nie chcą wpuścić polityki do „świata”, są równie przewidujący jak wojskowi, którzy nie chcą dopuścić polityki do armii. Ze „światem” jest tak jak z pociągiem pociowym, który mógłby dojść nie wiadomo do jakich perwersji, gdyby się raz dopuściło swobodę gustów. Faubourg Saint-Germain<sup>1187</sup> przywykło widzieć u siebie damy z innej sfery, dlatego że były nacjonalistkami; powód znikł wraz z nacjonalizmem, przyzwyczajenie zostało. Dzięki dreyfusizmowi pani Verdurin ściągnęła do siebie wybitnych pisarzy, którzy na razie nie przedstawiali dla niej żadnej wartości światowej, bo byli dreyfusistami. Ale namiętności polityczne są jak inne, nie trwają. Przychodzą nowe pokolenia, które ich już nie rozumieją. Nawet to pokolenie, które im podlegało, zmienia się, odczuwa pasje polityczne, które nie będąc ściśle skopiiowane z poprzednich, każą im rehabilitować część proskrybowanych<sup>1188</sup>, skoro się przyczyny proskrypcji zmieniły. Podczas sprawy Dreyfusa monarchiści nie troszczyli się o to, czy ktoś jest republikanin, nawet radykał, nawet antyklerykał, byle był antysemitą i nacjonalistą. Gdyby kiedyś miała przyjść wojna, patriotyzm przybrałby inne formy i nie troszczono by się o to, czy pisarz-szowinista był niegdyś za Dreyfusem czy przeciw. W ten sposób przy każdym przełomie politycznym, przy każdej odnowie artystycznej pani Verdurin skubała pomalutku, jak ptak ścielący gniazdko, źdźbła — na

<sup>1181</sup>Dreyfus, Alfred (1859–1935) — francuski oficer pochodzenia żydowskiego, w 1894 niesłusznie oskarżony o szpiegostwo na rzecz Niemiec, skazany na dożywotni pobyt w kolonii karnej, zrehabilitowany w 1906; jego sprawa podzieliła społeczeństwo francuskie, prowokując wielu intelektualistów do ostrych wypowiedzi. [przypis edytorski]

<sup>1182</sup>czym opowiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czy opowiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>1183</sup>Service des Renseignement (fr.) — Służba Wywiadowcza. [przypis edytorski]

<sup>1184</sup>La Fontaine, Jean de (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwierzęcych. [przypis edytorski]

<sup>1185</sup>Reinach, Joseph (1856–1921) — francuski polityk, dziennikarz i pisarz niemiecko-żydowskiego pochodzenia; prowadził kampanię prasową w obronie Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>1186</sup>Hervieu, Paul (1857–1915) — francuski pisarz i dramaturg; jeden z intelektualistów najbardziej zaangażowanych w obronę Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>1187</sup>Faubourg Saint-Germain (fr. dosł.: przedmieście Saint-Germain) — historyczna dzielnica Paryża, znana z licznych rezydencji arystokracji. [przypis edytorski]

<sup>1188</sup>proskrypcja — ogłoszenie o wyjęciu spod prawa, konfiskacie majątku, ukaraniu śmiercią lub objęciu innymi represjami przeciwników politycznych. [przypis edytorski]

razie niedające się zużyć — do tego, czym miał być kiedyś jej salon. Sprawa Dreyfusa minęła, został jej Anatol France<sup>1189</sup>. Siłą pani Verdurin była szczerza miłość sztuki, trud, jaki sobie zadawała dla „wiernych”, wspaniałe obiady dawane dla nich samych, bez udziału światowców. Każdego z „wiernych” traktowano u niej tak, jak niegdyś był traktowany Bergotte u pani Swann. Kiedy gość tego typu stawał się kiedyś znakomitością, którą świat pragnie oglądać, obecność jego u pani Verdurin nie miała nic sztucznego, fałszowanego; nic z kuchni „Potel et Chabot” oficjalnego bankietu; to był niezrównany codzienny stół, równie wyborowy w dniu, gdy nie było gości. U pani Verdurin była doskonała i wyćwiczona trupa, pierwszorzędnny repertuar — brakowało jedynie publiczności. I od czasu jak smak publiczności odwracał się od racjonalnej i francuskiej sztuki jakiegoś Bergotte’a i kochał się zwłaszcza w egzotycznej muzyce, pani Verdurin — rodzaj paryskiej ekspozytury wszystkich zagranicznych artystów — miała niebawem, obok uroczej księżnej Jurbeletiew, być starą, ale wszechpotężną wróżką Carabosse<sup>1190</sup> rosyjskiego baletu. Ten czarujący najazd, którego urokiem bronili się jedynie krytycy pozbawieni smaku, wprowadził Paryż, jak wiadomo, w gorączkę ciekawości mniej ostrą, czysto estetyczną, ale może równie żywą jak sprawa Dreyfusa. Tu znowu pani Verdurin miała być w pierwszym rzędzie, ale z całkiem innym światowym rezultatem. Tak jak ją widziano obok pani Zola tuż u stóp trybunału, na sesjach sądu przysięgłych, tak teraz, kiedy nowy świat oklaskujący rosyjski balet tłoczył się w Operze, strojny w egzotyczne egretki<sup>1191</sup>, zawsze widziało się w najlepszej łoży panią Verdurin obok księżnej Jurbeletiew. I jak po wzruszeniach sali sądowej spieszyło się wieczorem do pani Verdurin, aby oglądać z bliska Picquarta<sup>1192</sup> lub Laboriego<sup>1193</sup>, a zwłaszcza aby usłyszeć ostatnie nowiny, wiedzieć, czego się można spodziewać po Zurlindenie, po Loubecie, po pułkowniku Jouaust<sup>1194</sup>, po Regulaminie, tak samo, nie mając zbytnej ochoty do snu po entuzjazmie rozpętanym przez *Szeherazadę* lub tańce w *Księżcu Igorze*<sup>1195</sup>, szło się do pani Verdurin, gdzie pod egidą księżnej Jurbeletiew oraz „pryncypalki” wyśmienita kolacja gromadziła co wieczora tancerzy (dla większej sprężystości niejedzących obiadu), dyrektora, dekoratorów, wielkich muzyków Igora Strawińskiego<sup>1196</sup> i Ryszarda Straussa<sup>1197</sup>, niezmienną „paczkę”, z którą, jak niegdyś na kolacjach u państwa Helvetius, największe damy paryskie i zagraniczne księżniczki krwi rwały się mieszać. Nawet ci światowcy, którzy obnosili się ze swoim „smakiem” i zapuszczali się w czcze subtelności na temat rosyjskich baletów, uważając, że *mise en scène*<sup>1198</sup> *Sylfidy*<sup>1199</sup> jest „cieńsza” od *Szeherazady* (tę skłonni byli wywodzić ze sztuki murzyńskiej), uszczęśliwieni byli, mogąc oglądać z bliska wielkich odnowicieli teatralnego

<sup>1189</sup>France, Anatole, właśc. François-Anatole Thibault (1844–1924) — francuski poeta, pisarz i dziennikarz, laureat literackiej Nagrody Nobla (1921); w okresie sprawy Dreyfusa zaangażował się w jego obronę. [przypis edytorski]

<sup>1190</sup>Carabosse — postać z rosyjskiego baletu *Śpiąca królewna* (1890) z muzyką Piotra Czajkowskiego: zła wróżka, która rzuca czar na królewnę. [przypis edytorski]

<sup>1191</sup>egretka — ozdoba z piór lub z drogich kamieni na damskim kapeluszu. [przypis edytorski]

<sup>1192</sup>Picquart, Georges (1854–1914) — francuski oficer i minister wojny; znany przede wszystkim ze związku z aferą Dreyfusa: w 1896, służąc w wywiadzie wojskowym, odkrył, że przypisywane Dreyfusowi pismo do ambasady niemieckiej, stanowiące koronny dowód w sprawie, zostało sporządzone przez współpracującego z Niemcami majora Ferdinanda Walsina Esterhazygo; został oskarżony o wymuszenie zeznań Esterhazygo, po uniewinnieniu Dreyfusa w 1906 awansowany na stopień generała brygady; w latach 1906–1909 był ministrem wojny. [przypis edytorski]

<sup>1193</sup>Labori, Fernand (1860–1917) — francuski adwokat; obrońca w głośnych procesach, m.in. Alfreda Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>1194</sup>Zurlinden, Loubet, Jouaust — osoby zaangażowane w ostateczne rozstrzygnięcie sprawy Dreyfusa; *Émile Zurlinden* (1837–1929): generał, minister wojny; *Émile Loubet* (1838–1929): przewodniczący senatu (od 1896), prezydent Francji (1899–1906); *Albert Jouaust* (1840–1927): oficer artylerii, przewodniczący drugiego sądu wojskowego w sprawie Dreyfusa. [przypis edytorski]

<sup>1195</sup>*Szeherazada*, *Księż Igor* — *Szeherazada* (1910): balet rosyjski z muzyką Nikołaja Rimskiego-Korsakowa, wystawiony po raz pierwszy w Paryżu przez Balety Rosyjskie Diaghilewa; *Księż Igor* (Kniaź Igor, 1890): opera rosyjskiego kompozytora Aleksandra Borodina. [przypis edytorski]

<sup>1196</sup>Strawiński, Igor Fiodorowicz (1882–1971) — rosyjski kompozytor, pianista i dyrygent; jeden z najwybitniejszych kompozytorów i symfoników XX w. [przypis edytorski]

<sup>1197</sup>Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

<sup>1198</sup>mise en scène (fr.) — inscenizacja. [przypis edytorski]

<sup>1199</sup>Sylfidy — neoromantyczny balet do muzyki Fryderyka Chopina z choreografią Michaiła Fokina, wystawiony pierwotnie w 1907 w Petersburgu jako *Chopiniana*; tytuł *Sylfidy* został mu nadany przez Siergieja Diaghilewa,

smaku, którzy w sztuce sztuczniejszej może nieco od malarstwa spowodowali rewolucję równie głęboką jak impresjonizm.

Aby wrócić do pana de Charlus, pani Verdurin nie byłaby zbyt cierpiała, gdyby baron pomieścił na czarnej liście jedynie hrabinę Molé i panią Bontemps, którą pani Verdurin wyróżniła niegdyś u Odety dla jej miłości sztuki, a która w epoce Dreyfusa bywała u niej czasem na obiedzie z mężem. Pana Bontemps nazywała pani Verdurin let-nim, bo nie dopuszczał rewizji procesu; ale jako człowiek bardzo inteligentny i rad mieć kontakty we wszystkich stronnictwach uszczęśliwiony był, że może okazać swoją niezależność, jedząc obiad w towarzystwie Laboriego, któremu się przysłuchiwał, nie mówiąc nic kompromitującego, ale wsuwając w stosownym momencie pochwałę dla uznanej przez wszystkie partie lojalności Jauresa<sup>1200</sup>. Ale baron wykluczył również parę dam z arystokracji, z którymi pani Verdurin zapoznała się świeżo z okazji festiwalów muzycznych, kwest, went<sup>1201</sup>, i które, co bądź by o nich myślał pan de Charlus, byłyby o wiele bardziej od niego samego nieodzownymi elementami dla stworzenia u pani Verdurin nowego „ośrodka”, tym razem arystokratycznego.

Pani Verdurin właśnie liczyła na ten wieczór, na który pan de Charlus miał sprowadzić damy z tego samego świata; zamierzając doprosić do nich nowe znajome, cieszyła się z góry niespodzianką, jaką będzie dla nich zastać na Quai Conti swoje przyjaciółki lub krewne, zaproszone przez barona. Interdykt<sup>1202</sup> pana de Charlus przyniósł jej zawód i wprawił ją we wściekłość. Zachodziło pytanie, czy w tych warunkach wieczór będzie dla jej salonu zyskiem czy stratą. Strata nie byłaby zbyt poważna, gdyby bodaj damy zaproszone przez pana de Charlus przyszły tak ciepło nastrojone dla pani Verdurin, że stałyby się przyszłymi filarami jej salonu. W takim razie nie byłoby zbyt niefortunnego nieszczęścia; z czasem połączyłyby się te rozdzielone przez barona połówki wielkiego świata, choćby przyszło na ów wieczór wyrzec się jego samego. Pani Verdurin oczekiwała tedy zaproszonych przez barona dam z pewną emocją. Niebawem miała poznać usposobienie, w jakim przybywały i czego może się po nich spodziewać. W oczekiwaniu pani Verdurin naradzała się z „wiernymi”, ale widząc pana de Charlus wchodzącego z Brichotem i ze mną, urwała. Ku naszemu zdumieniu, kiedy Brichot wyraził żal, że, jak słyszał, z przyjaciółką jej jest tak źle, pani Verdurin odparła: „Drogi panie, muszę się przyznać, że mnie to niewiele wzrusza. Nie ma celu udawać tego, czego się nie czuje”. Z pewnością mówiła tak przez lenistwo, zawczasu zmęczona myślą, że musiałaby przybierać smutną twarz na cały wieczór; a także przez dumę, aby się nie zdawało, że szuka wymówek, iż nie odwołała przyjęcia; także przez obłudę i spryt, brak współczucia bowiem zaszczytniejszy był, o ile płynął raczej ze specjalnej, nagle przejawiającej się antypatii do księżnej Szerbatow niż z zasadniczego braku serca; i dlatego że szczerść, której nie można podawać w wątpliwość, mimo woli działa rozbijająco. Gdyby pani Verdurin nie była naprawdę obojętna na śmierć księżnej, czyżby dla usprawiedliwienia swego rautu oskarżała się o winę znacznie cięższą? Zapominało się zresztą, że pani Verdurin równocześnie ze swoim zmartwieniem wyznałaby fakt, iż nie miała odwagi wyrzec się przyjemności; otóż oschłość serca była czymś bardziej rażącym, niemoralniejszym, ale mniej upokarzającym, tym samym łatwiejszym do wyznania niż namiętność uciech światowych. Tam gdzie winnemu zbrodni grozi niebezpieczeństwo, wyznania dyktuje interes; w błędach bez sankcji karnej — miłość własna. Pani Verdurin uważała z pewnością za bardzo zużyte aforyzmy ludzi, którzy nie chcąc dla zgrzytot wyrzekać się swoich przyjemności, uważają za zbyt cenne obnosić się z żalobą, „którą mają w sercu”. Wołała wzór inteligentnych przestępców, którzy brzydzą się kliszami zaklęć o niewinności i których obrona — bezwiedne półwyznanie — polega na powtarzaniu, że nie widzieliby nic złego w tym, co im się zarzuca, i czego, przypadkowo zresztą, nie mieli sposobności popełnić. Może przyjąwszy dla wytłumaczenia swojej postawy tezę obojętności, uważała — raz osunąwszy się po pochyłości swoich złych uczuć — że jest niejaka

---

kiedy jego słynny zespół Baletów Rosyjskich wprowadził go do swojego repertuaru podczas występów w Paryżu w 1909. [przypis edytorski]

<sup>1200</sup>Jaures, Jean (1859–1914) — francuski przywódca socjalistyczny; udzielał się jako obrońca Dreyfusa; w 1904 założył socjalistyczną gazetę „L’Humanité”; zamordowany przez francuskiego nacjonalistę. [przypis edytorski]

<sup>1201</sup>wenta (daw.) — kiermasz, z którego dochody przeznaczone są na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>1202</sup>interdykt — wydany przez władze kościelne zakaz odprawiania obrzędów religijnych na danym terenie, przez grupę ludzi lub konkretną osobę. [przypis edytorski]

oryginalność w odczuwaniu ich, rzadka bystrość w ich rozpoznaniu, a pewien tupet w ich głoszeniu. W rezultacie pani Verdurin akcentowała swój brak zgryzoty nie bez satysfakcji i dumy paradoksalnego psychologa i śmiałego dramaturga.

— Tak, to bardzo zabawne — rzekła — to mnie prawie nie obeszło. Mój Boże, nie mogę powiedzieć, że nie wołałabym, aby żyła, to nie była zła osoba.

— Owszem — przerwał Verdurin.

— A! Mąż jej nie lubi, bo uważał, że jej towarzystwo przynosiło mi szkodę, ale on jest zaślepiony na tym punkcie.

— Przyznaj — rzekł Verdurin — że ja nigdy nie pochwalałem tego stosunku. Zawsze mówiłem, że ona ma złą opinię.

— Nigdy nie słyszałem — zaprotestował Saniette.

— Ależ jak to! — wykrzyknęła pani Verdurin. — To było powszechnie znane; nie złą, ale haniebną, hańbiącą. Nie, ale to nie dlatego. Nie umiałam sobie wytłumaczyć swojego uczucia; nie nie cierpiałam jej, ale była mi tak obojętna, iż kiedyśmy się dowiedzieli, że jest bardzo chora, sam mąż był zdziwiony i rzekł: „Powiedziałby kto, że cię to nic nie obchodzi”. Wiecie, dziś wieczór jeszcze proponował mi odwołanie rautu, a ja właśnie chciałam, aby się odbył, bo uważałabym to za komedię okazywać zmartwienie, którego nie odczuwam.

Mówiła tak, bo sądziła, że to jest w stylu *théâtre libre*<sup>1203</sup>, a także bo to było bardzo wygodnie; głośno wyznawana nieczułość lub niemoralność upraszcza życie w tym samym stopniu co moralność ułatwiona; czyni obowiązek szczerości z aktów nagannych, których wówczas nie potrzeba już usprawiedliwiać. I „wierni” słuchali pani Verdurin z połączonym uczuciem podziwu i niesmaku, jakie budziły niegdyś pewne sztuki okrutnie i przenikliwie realistyczne; i zachwycając się, że droga „pryncypałka” dała nową postać swojej rzetelności i niezależności, niejedni — powiadając sobie, że ostatecznie to nie byłoby to samo — myślał o własnej śmierci i zadawał sobie pytanie, czy w dniu tej śmierci płakano by na Quai Conti, czy też wyprawionoby zabawę.

— Bardzom rad z powodu moich gości, że wieczoru nie odwołano — rzekł pan de Charlus, który nie zdawał sobie sprawy, że wyrażając się w ten sposób, drażni panią Verdurin. Mnie natomiast, jak każdego, kto się zbliżył tego wieczora do pani Verdurin, uderzyła niezbyt przyjemna woń rhinogomenolu<sup>1204</sup>. Oto skąd pochodził ten zapach. Wdzieliśmy, że pani Verdurin wyrażała zawsze swoje artystyczne wzruszenia nie w sposób duchowy, ale w sposób fizyczny, iżby się wydawały przez to bardziej nieodparte i głębsze. Otóż kiedy jej mówiono o muzyce Vinteuila — jej ulubionej — pozostawała obojętna, tak jakby nie odczuwała żadnego wzruszenia. Ale po kilku minutach nieruchomego, niemal roztargnionego spojrzenia odpowiadała tonem ścisłym, rzeczowym, prawie niegrzecznym, tak jakby komuś mówiła: „To by mi było obojętne, że pan pali, ale chodzi mi o dywan; jest bardzo ładny (co by mi również było obojętne), ale jest łatwo palny, bardzo się boję ognia i nie chciałabym wszystkich gości usmażyć z powodu niedopałka, który by pan upuścił na ziemię”. Tym więc tonem odpowiadała: — „Nie mam nic przeciwko Vinteuilowi; moim zdaniem to jest największy muzyk naszej epoki; tylko że ja nie mogę słuchać tych rzeczy, żeby cały czas nie płakać — słowo „płakać” bez żadnego patosu; owszem, tak naturalnie, jakby powiedziała „spać”; złe języki twierdziły nawet, że ten ostatni czasownik byłby prawdziwszy, czego nikt nie mógł zresztą rozstrzygnąć, bo pani Verdurin słuchała tej muzyki z głową w dłoniach i pewne odgłosy zbliżone do chrapania mogły ostatecznie być łkaniem. — Placz nie sprawia mi przykrości, owszem, mogę płakać, ile kto zechce, tylko że z tego łapię wściekły katar. To wywołuje przekrwienie błony śluzowej; w dwie doby po tym wyglądam na starą pijaczkę i trzeba mi całych dni inhalacji, aby moje struny głosowe zaczęły funkcjonować. Pewien uczeń Cottarda, uroczy człowiek, leczył mnie na to. On głosi aksjomat wcale oryginalny: »Lepiej zapobiegać niż leczyć«. I aplikuje mi do nosa maść, zanim się zacznie muzyka. To jest radykalne. Mogę płakać jak cały tuzin matek, które straciły dzieci, ani cienia kataru. Czasem trochę zapalenia spojówek, ale to wszystko. Skuteczność absolutna. Bez tego nie mogłabym nadal słuchać Vinteuila. Nie wychodziłam z bronchitu”.

<sup>1203</sup>*théâtre libre* (fr.) — teatr wyzwolony; także nazwa własna paryskiego teatru działającego w latach 1887–1896, który jako pierwszy realizował program skrajnego naturalizmu. [przypis edytorski]

<sup>1204</sup>*rhinogomenol* — maść zmniejszająca przekrwienie i antyseptyczna. [przypis edytorski]

Nie mogłem się wstrzymać, aby nie wspomnieć o panie Vinteuil.

— Czy nie ma tu córki autora — spytałem pani Verdurin — i jej przyjaciółki?

— Nie, właśnie dostałam depeszę — rzekła wymijająco pani Verdurin. — Musiały zostać na wsi.

Miałem przez chwilę nadzieję, że nigdy nie było o tym mowy, aby opuściły wieś, i że pani Verdurin zapowiedziała przedstawicielki autora jedynie po to, aby korzystnie nastroić wykonawców i publiczność.

— Jak to, więc nie było ich nawet po południu na próbie? — rzekł z fałszywą ciekawością baron, który chciał udać, że nie widział swego Charlie.

Morel podszedł się ze mną przywitać. Spytałem go po cichu o pannę Vinteuil; nie wydawał się zbyt poinformowany. Trąciłem go, żeby nie mówił głośno, dając do zrozumienia, że jeszcze pogadamy o tym. Skłonił się, oświadczając, że pozostaje z radością do mojej dyspozycji. Zauważyłem, że jest o wiele grzeczniejszy, o wiele bardziej z szacunkiem niż dawniej: on mógłby może pomóc mi rozproszyc moje podejrzenia. Powinnowałem Morela panu de Charlus. Odparł:

— Robi tylko to, co powinien; nie warto by mu było żyć wśród ludzi dobrze wychowanych, gdyby miał mieć złe manieri.

Dobre manieri, wedle pana de Charlus, to były stare formy francuskie, bez cienia angielskiej sztywności. Toteż kiedy Charlie, wracając z tournée po prowincji lub za granicą, zjawiał się u barona w podróżnym stroju, ten, o ile nie było przy tym zbyt wiele ludzi, całował go bez ceremonii w oba policzki, po trochu może aby przez taką ostentację odjąć czułości wszelki pozór występku; może aby sobie nie odmawiać przyjemności, ale bardziej jeszcze z pewnością dla „stylu”, ku chwale dawnych form francuskich i tak jakby protestował przeciw monachijskiej „secesji” albo *modern style*<sup>1205</sup>, zachowując stare fotele po prababce, przeciwstawiając brytyjskiej flegmie tkliwość osiemnastowiecznego ojca nieukrywającego radości na widok syna. Czy był wreszcie jakiś cień kazirodztwa w tej ojcowskiej czułości? Prawdopodobniejsze jest, że sposób, w który pan de Charlus zadawał najczęściej swoje zboczenie i co do którego znajdziemy później parę wyjaśnień, nie wystarczał jego potrzebom uczuciowym, osieroconym od śmierci żony; faktem jest, że powziąwszy kilka razy zamiar powtórnego małżeństwa, obecnie czuł maniacką chęć adoptowania kogoś. Mówiono, że chce adoptować Morela, i nie byłoby w tym nic niezwykłego. Zboczeniec, który mógł karmić swoją namiętność jedynie literaturą ludzi normalnych, który myślał o mężczyznach czytając *Noce Musseta*<sup>1206</sup>, czuje tak samo potrzebę wejścia we wszystkie socjalne funkcje niezbozonego mężczyzny, czuje potrzebę utrzymywania kochanka, jak stary bywalec opery utrzymuje tancerki; potrzebę ustatkowania się, ożenienia się lub trwałego stosunku, ojcostwa.

Pan de Charlus oddalił się z Morelem pod pozorem, że skrzypek miał mu objaśnić utwory składające program. Baron znajdował osobliwą słodycz w tym, aby — podczas gdy mu Charlie pokazywał nuty — popisywać się publicznie ich sekretną zażyłością. Przez ten czas ja byłem oczarowany. Bo mimo iż „paczka” mało liczyła młodych panien, zapraszano ich w zamian sporo w dni wielkich przyjęć. Było kilka bardzo ładnych, które znałem. Słały mi z daleka przyjazne uśmiechy. W ten sposób salon stroił się raz po raz pięknym uśmiechem młodego dziewczęcia: to jest mnoga i migotliwa ozdoba wieczorów — jak i dni. Przypominamy sobie jakąś atmosferę dlatego, że drgał w niej uśmiech młodej dziewczyny.

Czytelnik zdziwiłby się mocno, gdyby się zanotowało zdania, jakie pan de Charlus wymieniał ukradkiem z kilkoma poważnymi uczestnikami zebrania. Byli to dwaj książęta, wybitny generał, wielki pisarz, wielki lekarz, wielki adwokat. Otóż rozmowa ich brzmiała tak:

— *À propos*, czyś widział nowego lokaja, mówię o tym młodym, co jeździ na koźle? A u naszej kuzynki Guermantes czy nic nie znasz?

— W tej chwili nic.

<sup>1205</sup>*modern style* (ang.) — nowoczesny styl. [przypis edytorski]

<sup>1206</sup>*Musset, Alfred de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu, członek Akademii Francuskiej; autor m.in. zbioru poezji *Les Nuits* (Noce, 1835–1837), napisanego po zerwaniu związku uczuciowego z George Sand. [przypis edytorski]



— Powiedz no, koło bramy, przy powozach, była młoda osoba blond, w krótkich spodenkach, która mi się wydała całkiem sympatyczna. Zawołała mi bardzo grzecznie powóz, byłbym chętnie przedłużył rozmowę.

— Tak, ale mnie się ta osoba wydaje absolutnie wroga, a przy tym robi ceregiele; ty, co lubisz doprowadzać rzeczy do skutku od pierwszego razu, zbrzydziłbyś to sobie. Zresztą wiem, że tam się nic nie da zrobić, jeden z naszych przyjaciół próbował.

— To szkoda, profil bardzo subtelny i włosy wspaniałe.

— Doprawdy, aż tak? Sądzę, że gdybyś się przyjrzał bliżej, rozczarowałbyś się. Nie, raczej przy bufecie, nie dalej niż dwa miesiące temu, ujrzałbyś istne чудо: dryblas dwa metry wzrostu, skóra idealna i przy tym lubił te rzeczy. Ale wyjechał do Polski.

— A, to trochę daleko.

— Kto wie, wróci może. Zawsze się można spotkać w życiu.

Każda światowa feta, o ile wziąć jej przekrój dostatecznie głęboko, podobna jest do owych zabaw, na które lekarze zapraszają pacjentów; tacy chorzy mówią rzeczy bardzo rozsądne, mają wzorowe maniery i niczym nie zdradziliby, że są wariaci, gdyby któryś nie szepnął wam do ucha, pokazując starszego pana: „O, idzie Joanna d’Arc”.

— Uważam, że byłoby naszym obowiązkiem oświecić Morela — rzekła pani Verdurin do Brichota. — Nie abym chciała robić coś przeciwko Charlusowi, przeciwnie. Jest bardzo miły, a co się tyczy jego reputacji, przyzna pan, że nie jest z rodzaju, który by mi mógł zaszkodzić! Powiem nawet, że ja, która w naszej „paczce”, na obiadach, gdzie się rozmawia, nie cierpię flirtów, mężczyzn prawiących w kącie bzdury kobiecie zamiast poruszać zajmujące tematy, z Charlusem nie potrzebowałam się obawiać tego, co mi się zdarzyło ze Swannem, z Elstirem, z tyloma innymi. Z nim byłam spokojna, przychodził na obiady i gdyby nawet spotkał u mnie wszystkie kobiety świata, miałam pewność, że nie zakłóci ogólnej rozmowy przez flirty i szept. Charlus to coś ekstra, można być spokojnym, coś jak ksiądz. Tylko niech się nie waży przewodzić nad młodymi ludźmi, którzy przychodzą tutaj i wnoszą zamęt w naszą „paczkę”; wówczas to byłoby jeszcze gorzej niż z kobieciarzem.

I pani Verdurin była szczerą, głosząc swoją pobłażliwość dla „charlizmu”. Podobnie jak wszelka władza duchowna, uważała ludzkie słabostki za mniej groźne niż to, co by mogło osłabić pierwiastek autorytetu, szkodzić ortodoksji, zmieniać starożytne *credo*<sup>1207</sup> w jej małym kościele.

— Wówczas pokazuję zęby — ciągnęła. — Dobry jest taki pan, który chciał nie pozwolić, aby Charlie grał w jakimś salonie, dlatego że jego tam nie zaproszono! Toteż udzieli mu się poważnego ostrzeżenia; mam nadzieję, że to wystarczy; inaczej może się stąd zabierać. Daję słowo, on go trzyma pod kuratelą!

I używając ściśle tych samych wyrażen, jakich użyliby wszyscy (bo istnieją takie specjalne zwroty, które jakiś specjalny przedmiot, okoliczność nieodzownie prawie przywodzą na pamięć mówcy przeświadczonego, że wyraża swobodnie swoją myśl, gdy powtarza jedynie machinalnie powszechną wersję), pani Verdurin dodała:

— Niepodobna widzieć już Morela, żeby nie włożył za sobą tego dryblasa, tego lejbgwardzisty<sup>1208</sup>!

Pan Verdurin poddał myśl, żeby odciągnąć na chwilę Morela dla pomówienia z nim pod pozorem jakiegoś zapytania. Pani Verdurin bała się, że go to zdenerwuje i że będzie gorzej grał. Lepiej dopełnić tej egzekucji dopiero po jego numerze. A może nawet odłożyć na inny raz. Bo mimo iż pani Verdurin aż drżała do rozkosznej emocji, jakiej doznałaby, wiedząc, że mąż właśnie uświadamia Morela w sąsiednim pokoju, bała się, w razie gdyby się zamach nie udał, że się skrzypek pogniewa i skrewi jej szesnastego.

Ale pana Charlus zgubiło owego wieczora tak częste w wielkim świecie złe wychowanie osób, które zaprosił i które zaczynały napływać. Przyszedłszy przez przyjaźń dla pana de Charlus, a także przez ciekawość tego środowiska, każda diuszesa szła prosto do barona, tak jakby to on był gospodarzem, i mówiła o krok od Verdurinów, którzy słyszeli wszystko:

<sup>1207</sup>*credo* (łac.) — dosł. wierzę; przen. wyznanie wiary, poglądy i zasady, którymi ktoś kieruje się w życiu. [przypis edytorski]

<sup>1208</sup>*lejbgwardzista* — członek straży przybocznej monarchii. [przypis edytorski]

— Niech mi pan pokaże, gdzie jest stara Verdurin; czy pan sądzi, że koniecznie trzeba się jej przedstawić? Mam bodaj nadzieję, że mnie nie wpakuje do jutrzejszych dzienników, dostałabym pucówkę od całej rodziny. Jak to! Jak to, to ta siwa? Ależ ona nie wygląda zanadto skandalicznie.

Słyszac, że się rozmawia o pannie Vinteuil, nieobecnej zresztą, któraś dama mówiła:

— A, to córka *Sonaty*? Niech mi pan ją pokaże.

Poza tym, odnajdując wiele przyjaciółek, panie te trzymały się osobno, śledziły wejście „wiernych” oczami iskrzącymi się ironiczną ciekawością.; umiały co najwyżej pokazywać sobie palcem ekscentryczną nieco fryzurę jakiejś osoby, która w kilka lat później miała wprowadzić w modę tę fryzurę w największym świecie; i w sumie żałowały, że ten salon nie jest tak różny od znajomych salonów, jak się tego spodziewały, doznając rozczarowania ludzi światowych, którzy zapuściwszy się do kabaretu Bruanta<sup>1209</sup> w nadziei, że będą „opyskowani” przez piosenkarza, wchodząc, spotkałoby się z poprawnym ukłonem w miejsce oczekiwanego refrenu: „Idą mordy, idą mordy — idą mordy, raz, dwa, trzy”.

Swojego czasu w Balbec pan de Charlus dowcipnie krytykował przy mnie panią de Vaugoubert, która mimo wielkiej inteligencji spowodowała po nieoczekiwanym sukcesie katastrofalny upadek męża. Kiedy panujący, przy których pan de Vaugoubert był akredytowany, król Teodozjusz i królowa Eudoksja, przybyli znów do Paryża, tym razem na dłuższy pobyt, dawano na ich cześć codzienne fety, w czasie których królowa, zaprzyjaźniona z panią de Vaugoubert, którą widywała od dziesięciu lat w swojej stolicy, i nie znając ani żony prezydenta Republiki, ani żon ministrów, odsunęła się od nich, aby się trzymać na uboczu z ambasadorową. Ta, uważając swoją pozycję za niewzruszalną — jako że pan de Vaugoubert był twórcą sojuszu między królem Teodozjuszem a Francją — czerpała we względach królowej zadowolenie próżności, bez poczucia niebezpieczeństwa, które jej groziło i które zrealizowało się w kilka miesięcy później w wypadku niesłusznie uważanym za niemożliwy przez tę zbyt ufną parę i w dymisji brutalnie udzielonej panu de Vaugoubert. Pan de Charlus, komentując swego czasu w „samowarku” w Balbec upadek swego przyjaciela z lat dziecińczych, dziwił się, że kobieta tak inteligentna nie użyła w danej okoliczności całego swego wpływu na monarszą parę w tym sensie, aby królestwo pomogli jej ukryć, że ma jakikolwiek wpływ. Powinna się była postarać, aby panujący przenieśli na żonę prezydenta Republiki i na żony ministrów swoją uprzejmość, która byłaby tym dostojnikom pochlebila tym bardziej — to znaczy, za którą byłiby tym bardziej wdzięczni Vaugoubertom, im bardziej by wierzyli, że ta uprzejmość jest samorzutna, a nie podyktowana przez ambasadora i jego żonę. Ale ktoś, kto widzi błędy innych, często popada w nie sam, gdy go upoją okoliczności. I gdy goście tłoczyli się, aby winszować, dziękować baronowi, tak jakby on był gospodarzem domu, jemu nie powstało w myśli prosić ich, żeby powiedzieli parę miłych słów pani Verdurin. Jedynie królowa Neapolu<sup>1210</sup>, w której żyłach płynęła ta sama szlachetna krew co w żyłach jej siostr, cesarzowej Elżbiety i księżnej d’Alençon<sup>1211</sup>, wdała się w rozmowę z panią Verdurin, tak jakby przysłała bardziej dla przyjemności ujżenia jej niż dla muzyki i niż dla pana de Charlus; powiedziała „pryncypałce” tysiąc komplementów, podkreśliła dawną już chęć poznania jej, winszowała jej domu, mówiła o najrozmaitszych przedmiotach, tak jakby była u niej z wizytą. Tak byłaby chciała, powiadała, przyprowadzić swoją siostrzenicę Elżbietę<sup>1212</sup> (tę, co niebawem miała wyjść za Alberta belgijskiego). Tak będzie żałowała! Królowa umilkła, widząc, że muzycy zasiedli na estradzie; kazała sobie pokazać Morela. Nie musiała mieć zbyt wielu złudzeń co do pobudek pana de Charlus w tym, aby otoczyć młodego wirtuoza taką chwałą. Ale stara mądrość panującej, w której żyłach płynęła najszlachetniejsza krew historii, najbogatsza w doświadczenie, sceptycyzm i dumę, w nieuniknionych skazach ludzi, których najbar-

<sup>1209</sup>*Bruant, Aristide* (1851–1925) — francuski piosenkarz, twórca kabaretowy, komediant i właściciel klubu nocnego. [przypis edytorski]

<sup>1210</sup>*królowa Neapolu* — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>1211</sup>*cesarzowa Elżbieta i księżna d’Alençon* — córki księcia Maksymiliana Bawarskiego, siostry Marii Zofii Bawarskiej; *Elżbieta Bawarska* (1837–1898): cesarzowa Austrii i królowa Węgier od 1854 jako żona cesarza Franciszka Józefa I, znana również jako Sissi; *Zofia Charlotta Wittelsbach* (1847–1897): żona Ferdynanda Orleańskiego, księcia Alençon. [przypis edytorski]

<sup>1212</sup>*swoją siostrzenicę Elżbietę* — Elżbietę Gabrielę Bawarską (1876–1965), księżniczkę bawarską, od 1900 żonę Alberta, następcy tronu Belgii, który w 1909 został królem Belgów. [przypis edytorski]

dziej lubiła, jak swego kuzyna Charlus (syna księżniczki bawarskiej, jak ona była córką domu bawarskiego) kazała jej widzieć nieszczęścia czyniące tym cenniejszym oparcie, jakie tacy ludzie mogli w niej znaleźć, i podnoszące tym samym przyjemność użyczenia go. Wiedziała, że Charlus byłby podwójnie wzruszony tym, że ona się trudziła w takiej okazji. Tylko że ta heroiczna kobieta, równie dobra jak się niegdyś okazała dzielną, prawdziwą królową-żołnierz, która sama dała ognia z wałów Gaety<sup>1213</sup>, zawsze gotowa stawać rycersko po stronie słabych, widząc panią Verdurin samą i opuszczoną (nieświadomą zresztą, że nie powinna opuszczać królowej), starała się udawać, że dla niej, królowej Neapolu, pani Verdurin jest właśnie centrum tego wieczora, atrakcją, która ją sprowadziła. Wytłumaczyła się, że nie może zostać do końca, mając — mimo że nie bywała prawie nigdzie — inny wieczór; prosiła zwłaszcza, aby nikt się dla niej nie trudził, kiedy będzie odchodziła, zwalniając panią domu z powinności, których ta zresztą nie znała.

Trzeba oddać tę sprawiedliwość panu de Charlus, że o ile zapomniał zupełnie o pani Verdurin i pozwalał o niej wręcz skandalicznie zapomnieć zaproszonym przez siebie osobom „ze swojego świata”, zrozumiał w zamian, że nie godzi się traktować produkcji muzycznej z tym samym złym wychowaniem, jakie okazali wobec gospodyni domu. Morel już wstąpił na estradę, artyści zajmowali miejsca, kiedy jeszcze słyszano się rozmowy, nawet śmiechy, powiedzenia w rodzaju: „Zdaje się, że trzeba być wtajemniczonym, aby coś zrozumieć”. Natychmiast pan de Charlus, prostując się, jak gdyby wszedłszy w inne ciało niż to, które widziałem przed chwilą wlokące się opieszale do pani Verdurin, przybrał wyraz proroka. Spojrzał po zgromadzeniu z powagą, która mówiła, że to nie pora na śmiechy: od tego spojrzenia poczerwieniała nagle twarz niejednej z zaproszonych dam, złapanej na gorącym uczynku niby uczennica w klasie. Dla mnie ta szlachetna zresztą postawa pana de Charlus miała coś komicznego; piorunował swoich gości płomiennym spojrzeniem; to znów, aby im, niby *vademecum*<sup>1214</sup>, przypomnieć nabożną ciszę, jaką należało zachować, oderwanie od wszelkiej światowej myśli, sam, podnosząc do pięknego czoła ręce w białych rękawiczkach, stawał się wzorem (do którego należało się zastosować) powagi, niemal ekstazy. Nie odpowiadał na ukłony spóźnionych gości, na tyle nieprzyzwoitych, aby nie zrozumieć, że obecna godzina należy do Wielkiej Sztuki. Wszyscy byli zahipnotyzowani; nikt nie śmiał już wyrzec słowa, poruszyć krzesłem; cześć dla muzyki, poprzez prestiż Palamedy udzieliła się nagle ciżbie równie źle wychowanej, jak elegancjki. Widząc, że na estradzie zasiadają nie tylko Morel i pianista, ale i inni muzycyści, sądziłem, że zaczną od innych utworów, nie od Vinteuila. Bo myślałem, że istnieje tylko jego sonata skrzypcowa.

Pani Verdurin siadła z boku; na wspaniałych półkulach białego, lekko zaróżowionego czoła włosy były rozrzucone na wpół przez naśladownictwo pewnego osiemnastowiecznego portretu, na wpół przez potrzebę chłodu u osoby zgorączkowanej, której wstyd nie pozwala wyrazić swego stanu; siedziała sama, bóstwo prezydujące uroczystościom muzycznym, bogini wagneryzmu i migreny, niemal tragiczna wróżka, ściągnięta przez geniusza wkoło tych nudziarzy, przy których bardziej jeszcze niż zwykle miała gardzić wyrażaniem swoich uczuć wobec muzyki, którą znała lepiej od nich. Koncert zaczął się; nie znałem tego, co grano, znalazłem się w obcej krainie. Gdzie ją umieścić? W dziele jakiego autora się znalazłem? Byłbym rad wiedzieć, a nie mając obok siebie nikogo, kogo bym mógł spytać, byłbym chciał być osobistością z owych *Tysiąca i jednej nocy*, które odczytywałem bez ustanku, gdzie w chwilach niepewności zjawia się nagle geniusz lub czarująca dziewczyna niewidzialna dla innych, ale nie dla zakłopotanego bohatera, któremu objawia ściśle to, co pragnął wiedzieć. Otóż w tej właśnie chwili nawiedziło mnie takie czarodziejskie zjawisko. Jak w okolicy na pozór nieznannej, a którą w istocie oglądamy z nowej strony i minąwszy zakręt, wchodzimy nagle na inną drogę, gdzie każdy zakątek jest nam poufały (tylko żeśmy nie nawykli przybywać tam od tej strony), powiadamy sobie nagle: „Ależ to ścieżka do furki moich przyjaciół X; jestem o dwie minuty od

<sup>1213</sup>*Gaeta* — niewielkie portowe miasto we Włoszech; w XIX w. było silnie umocnioną twierdzą, ostatnią placówką Franciszka II, władcy Królestwa Obojga Sycylii, broniącą się przeciwko wojskom Królestwa Piemontu i Sardynii walczącym o zjednoczenie Włoch. Oblężenie (XI 1860 – II 1861) zakończyło się kapitulacją twierdzy, przy czym Franciszkowi II i jego żonie, Marii Zofii Bawarskiej, pozwolono udać się na wygnanie do Rzymu, gdzie zostali gośćmi papieża. [przypis edytorski]

<sup>1214</sup>*vademecum* (z łac.) — przewodnik. [przypis edytorski]

nich”, i w istocie zjawia się ich córka i wita się, mijając nas, tak ja nagle, wśród tej nowej dla mnie muzyki, odnalazłem się w pełni sonaty Vinteuila; jej lekka fraza, bardziej czarodziejska niż młoda dziewczyna, w srebrzystej szacie, ociekająca dźwiękami lśniącoymi, lekkimi i miękkimi na kształt gazy, podeszła, łatwa do poznania w tym nowym stroju. Radość moją, że ją odnalazł, wzmacniał akcent tak przyjacielski, tak znany, który przybierała, zwracając się do mnie, tak przekonywujący, tak prosty, mimo iż rozświetlony jej promienną pięknosciami. Tym razem zresztą przeznaczeniem jej było tylko pokazać mi drogę; nie drogę sonaty, bo to było niewydane dzieło Vinteuila, w którym jedynie przez aluzję podkreśloną w tym miejscu komentarzem programu (należało go mieć równocześnie przed oczami) muzyk jakby dla zabawy wprowadził na chwilę leciutką frazę z sonaty. Zaledwie przywołana w ten sposób, znikła; po czym znalazłem się znów w nieznanym świecie, ale wiedziałem teraz — i wszystko mi już wciąż o tym przypominało — że to jest jeden ze światów, o których stworzenie nawet nie podejrzewałem Vinteuila; kiedy bowiem, zmęczony sonatą będącą dla mnie wszechświatem już wyczerpanym, próbowałem sobie wyobrazić inne, równie piękne, lecz odmienne, czyniłem jedynie tak jak owi poeci, którzy zapełniają swój rzekomy raj łąkami, kwiatami, rzekami, dublującymi łąki, kwiaty i rzeki ziemi. To, co miał przed sobą, dawało mi tyle szczęścia, ile by mi go dała sonata, gdybym jej nie znał; tym samym, będąc równie piękne, było inne. Podczas gdy sonata ukazywała mi liliowy i sielski świt, rozszczepiając swoją ulotną czystość, aby zawisnąć na lekkiej, a przecież silnej tkaninie wiciokrzewów i białych geranii, nowy utwór rozpościł się na powierzchni gładkiej i równej jak powierzchnia morza w burzliwy poranek już zarumieniony purpurą, pośród cierpkiego milczenia, w bezkresnej pustce; i ten nieznaną wszechświat wylał się z ciszy i z ciemności, w różnym blasku jutrzeńki, wznosząc się stopniowo przede mną. Ta czerwień tak nowa, tak nieobecna w tkliwej, sielskiej i czystej sonacie, barwiła całe niebo — niby jutrzeńka — tajemniczą nadzieją. I już przesywał powietrze śpiew, pełna gama tonów, śpiew nieznaną, najróżniejszy od wszystkiego, co bym zdołał kiedy wyroić, niewysłowiony i krzykliwy zarazem, już nie, jak w sonacie, podobny do gruchania gołębi, ale rozdzierający powietrze, równie żywy jak szkarłatny odcień, w którym tonął początek, coś niby mistyczne pianie koguta, niewymowne, ale ostre wołanie wiekuistego poranka. Atmosfera zimna, splukana deszczem, elektryczna — o tak odmiennym charakterze, o całkiem innych ciśnieniach, w świecie tak odległym od dziewiczego i pełnego roślin świata sonaty, zmieniała się co chwila, zacierając purpurową obietnicę Jutrzeńki. O południu wszelako, w palącym i przelotnym blasku, zdawała się ona spełniać w ciężkim, wiejskim, niemal sielskim szczęściu, gdzie kołysanie się hucznych i rozpiętych dzwonów (podobnych tym, które rozpały żarem plac kościelny w Combray i które Vinteuil, słysząc je z pewnością często, odnalazł może w owej chwili w pamięci niby farbę pomieszczonej własną ręką na palecie) wyrażało jak gdyby materialnie najgrubszą radość. Prawdę mówiąc, z estetycznego punktu ten radosny motyw nie podobał mi się; wydał mi się prawie brzydki, rytm jego włócił się tak leniwo po ziemi, że można by go naśladować niemal wiernie jedynie samym hałasem, uderzając w pewien sposób pałeczkami o stół. Zdawało mi się, że Vinteuilowi zbrakło tu natchnienia, a tym samym i mojej uwadze zbrakło trochę wytrwania.

Patrzyłem na „pryncypałkę”, której surowa martwota zdawała się protestować przeciwko wybijaniu taktu, jakiemu oddawały się nieokresane damy z największego świata. Pani Verdurin nie powiadała: „Pojmujecie, że ja znam trochę tę muzykę, no tak! Gdybym miała wyrazić wszystko, co odczuwam, nie skończylibyśmy tak prędko!”. Nie mówiła tego. Ale jej prosta i nieruchoma postawa, martwe oczy, niesforne kosmyki włosów mówiły za nią. Wyrażały także jej odwagę i to, że wykonawcy mogą jechać śmiało, nie oszczędzać jej nerwów, że się nie cofnie przy *andante*<sup>1215</sup>, nie zacnie krzyżeć przy *allegro*<sup>1216</sup>. Patrzyłem na muzyków. Wiolonczelista panował nad instrumentem, który ścisnął kolanami, pochylając twarz, której pospolite rysy dawały w manierycznych momentach mimowolny wyraz wstrętu; pochylał się nad swoim kontrabasem, skubał go z tą samą gospodarską cierpliwością, co gdyby obierał kapustę, podczas gdy obok niego harfistka (jeszcze dziecko) w krótkiej spódnicy, obramiona ze wszystkich stron promieniami złotego czworo-

<sup>1215</sup>*andante* (muz., wł.) — tempo wykonywania utworu w muzyce: umiarkowane. [przypis edytorski]

<sup>1216</sup>*allegro* (muz., wł.: radośnie) — tempo wykonywania utworu w muzyce: wesoło, żywo. [przypis edytorski]

boku podobnego do tych, które w czarnoksiężskiej izdebce wróżki wyobrażałyby wedle umownych a uświęconych form eter, zdawała się szukać po nich we właściwym momencie lubego dźwięku w ten sam sposób, w jaki alegoryczna boginka, stojąc przed złotą kratą niebieskiego sklepu, zrywałaby gwiazdy. Co się tyczy Morela, niewidzialny dotąd i zgubiony w jego włosach pukiel oderwał się i falował nad jego czołem. Obróciłem nieznacznie głowę ku publiczności, aby sobie zdać sprawę z tego, co pan de Charlus musiał myśleć o tym puklu. Ale oczy moje napotkały tylko twarz lub raczej ręce pani Verdurin, bo twarz była całkowicie utopiona w dłoniach.

Ale rychło, gdy triumfalny motyw dzwonów wypędziły, rozproszyły inne, ogarnęła mnie znów ta muzyka; zdałem sobie sprawę, że jeżeli w tym septecie<sup>1217</sup> różne elementy wylaniają się kolejno, to po to, aby się stopić w końcu. I sonata Vinteuila i, jak się dowiedziałem później, wszystkie inne jego utwory, były wobec tego septetu jedynie nieśmiały — uroczymi, ale wątlymi — szkicami wobec wspaniałego i pełnego arcydzieła objawiającego mi się w tej chwili. Mimo woli przez porównanie przypominałem sobie również, że myślałem niegdyś o innych światach, jakie mógł być stworzyć Vinteuil, jako o światach tak kompletnie zamkniętych jak każda z moich miłości. Ale w rzeczywistości musiałem uznać, że w stosunku do mojej ostatniej miłości — Albertyny — pierwsze moje próby kochania (w Balbec zaraz z początku, potem po partii „lisa”, potem owej nocy w hotelu, potem w mglistą niedzielę w Paryżu, potem po raucie u księżnej Marii, potem znów w Balbec i wreszcie w Paryżu, gdzie moje życie było ściśle spojone z jej życiem) były jedynie wołaniem; tak samo jeżeli spoglądałem teraz nie już na moją miłość do Albertyny, ale na całe swoje życie, inne miłości również były w nim niby wątle i nieśmiałe próby, wołania przygotowujące tę pełniejszą miłość: Albertynę. I przestałem nadążać za muzyką, aby znów dociekać, czy Albertyna widziała w tych dniach pannę Vinteuil, tak jak się bada na nowo objaw choroby, o której rozrywka pozwoliła nam przez chwilę zapomnieć. Bo to we mnie działały się możebyne uczynki Albertyny. Posiadamy duplikat wszystkich znanych istot, ale zazwyczaj mieszczący się na horyzoncie naszej wyobraźni, naszej pamięci; jest stosunkowo na zewnątrz nas i to, co zrobił albo mógł zrobić, zawiera dla nas nie więcej elementów bólu niż przedmiot ustawiony w pewnej odległości, dostarczający nam jedynie bezbolesnych wrażeń wzrokowych. To, co dotyczy owych istot, percypujemy<sup>1218</sup> w sposób kontemplacyjny; możemy ubolewać nad tym w odpowiednich zwrotach, które dają innym pojęcie o naszym dobrym sercu, lecz nie odczuwamy tego; ale od czasu mojej rany w Balbec duplikat Albertyny znajdował się w moim sercu, bardzo głęboko, trudny do wydobycia. To, co z niej widziałem, raniło mnie niby chorego o zmysłach tak boleśnie przemieszczonych, że kolor odczuwałby w swoim wnętrzu niby nacięcie w żywe ciało. Na szczęście nie uległem jeszcze pokusie zerwania z Albertyną; przykrość ujrzenia jej niebawem za powrotem była drobnostką w porównaniu z niepokojem, jakiego bym doznawał, gdyby rozstanie przypadło na chwilę, gdy ją podejrzewałem, zanimby zdążyła stać mi się obojętna. W chwili kiedy ją sobie wyobrażałem czekającą tak na mnie w domu jak ukochana kobieta, której się czas dłuży, uspioną może na chwilę w swoim pokoju, upieściła mnie w przelocie tkliwa fraza septetu, rodzinna i domowa. Wszystko tak dalece krzyżuje się i piętrzy w naszym wewnętrznym życiu, iż może frazę tę natchnął Vinteuilowi sen jego córki — jego córki, dziś przyczyny wszystkich moich udręczeń — kiedy w zaciszne wieczory słodycz jej umilała mu pracę; tę frazę, która mnie tak ukoila tym samym miękkim tłem milczenia, nasycającym często zadumę Schumanna<sup>1219</sup>, podczas której nawet kiedy „poeta mówi”, zgadujemy, że „dziecię śpi”. Odnajdę tego wieczora, kiedy mi się spodoba wrócić, Albertynę, dziecko moje, uspioną, rozbudzoną. A jednak — powiadałem sobie — początek tego dzieła w pierwszych krzykach jutrzeńki przyrzekał coś bardziej tajemniczego niż miłość Albertyny. Próbowałem wygnać myśl o niej, aby myśleć tylko o muzyku. Bo też miałem wrażenie, że on jest tutaj. Można by rzec, że mocą reinkarnacji autor żyje na zawsze w swojej muzyce; czuło się radość, z jaką dobierał kolor jakiegoś dźwięku, zestrajał go z innymi. Bo z głębszymi darami Vinteuil łączył dar, który

<sup>1217</sup>septet (muz.) — utwór na 7 głosów lub instrumentów solowych. [przypis edytorski]

<sup>1218</sup>percypować — odbierać jakieś zjawiska zmysłami, postrzegać. [przypis edytorski]

<sup>1219</sup>Schuman, Robert (1810–1856) — niemiecki kompozytor i krytyk muzyczny, przedstawiciel romantyzmu; autor m.in. zbioru utworów na fortepian pt. *Sceny dziecięce (Kinderszenen, 1838)*, z których dwa ostatnie to *Dziecko zasypia* oraz *Poeta mówi*. [przypis edytorski]

posiada niewielu muzyków, a nawet niewielu malarzy; mianowicie ten, że używał barw nie tylko tak trwałych, ale tak własnych, iż jak czas nie zmienia ich świeżości, tak uczniowie naśladowający ich wynalazcę, a nawet mistrze, którzy go przewyższyli, nie zaćmiewają ich oryginalności. Zdobył rewolucji, jaką sprawiło ich zjawienie się, nie stapiają się bezimiennie z następnymi epokami; szaleje ona i wybucha na nowo, ilekroć się gra utwory wiekiustego odnowiciela. Każdy dźwięk podkreślała barwa, której wszystkie reguły świata opanowane przez najcześniejszych muzyków nie zdołałyby naśladować; tak że Vinteuil, mimo iż związany ze swoją epoką i zajmujący swoje miejsce w ewolucji muzyki, zawsze je miał opuścić, aby się wysunąć na czoło, z chwilą gdy się zagra któryś z jego utworów, robiący wrażenie czegoś wykwitłego po najnowszych muzykach, wskutek paradoksalnego i istotnie mylącego wrażenia trwałej nowości.

Symfoniczna muzyka Vinteuila, znana już z fortepianu, a słyszana na orkiestrę, była jak promień letniego dnia, który przyzmat okna rozkłada, zanim go wpuści do mrocznej jadalni; odsłaniała, niby niepodejrzewany i wielobarwny skarb, wszystkie klejnoty *Tysiąca i jednej nocy*. Ale jak porównać z tym nieruchomym blaskiem światła coś, co było życiem, wiekiustym i szczęśliwym ruchem? Tę Vinteuila, którego znałem niegdys tak nieśmiały i smutnym, cechowało, kiedy trzeba było wybrać dźwięk, połączyć go z drugim, zuchwałstwo, oraz, w pełnym znaczeniu słowa, szczęście, co do którego wymowa jego dzieła nie zostawiała żadnej wątpliwości. Radość, jaką mu sprawiały pewne harmonie, przyływ sił, jaki mu dała ta radość dla odkrycia innych, wiodły słuchacza ze zdobyczy w zdobycz lub raczej wiódł go sam twórca, w świeżo znalezionych barwach czerpiąc oszalałą uciechę, dającą mu moc odkrywania, rzucania się na kolory wołające go niejako; zachwycony, drżący, jak od wybuchu iskry, kiedy boskość rodziła się sama ze zderzenia blach, dyszący, upojny, opętany, nieprzytomny, gdy malował swój wielki fresk muzyczny, jak Michał Anioł<sup>1220</sup> przywiązany do drabiny i miotający, z głową zwieszoną na dół, burzliwe ciosy pędzla na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

Vinteuil umarł od wielu lat; ale pośród tych instrumentów, które ożywił, dane mu było na czas nieograniczony przedłużyć bodaj część życia. Tylko swego ludzkiego życia? Gdyby sztuka była w istocie tylko przedłużeniem życia, czy warto było jej coś poświęcać, czy nie była czymś równie nierealnym jak samo życie? Wsłuchując się w ten septet, nie mogłem w to uwierzyć. Bez wątpienia purpurowy septet różnił się osobliwie od białej sonaty; nieśmiałe pytanie, na które odpowiadała lekka fraza, różniło się od zdyszanego błagania o spełnienie dziwnej obietnicy, które rozległo się tak ostre, tak nadprzyrodzone, tak krótkie, wstrząsając bezwładną jeszcze czerwień rannego nieba ponad morzem. A jednak te tak odmienne frazy miały te same składniki; tak samo bowiem jak istniał pewien świat, pochwytny dla nas w owych cząstkach rozproszonych tu i ówdzie, po jakichś mieszkaniach, muzeach, i stanowiących świat Elstira, ten, który Elstir widział, w którym żył, tak samo muzyka Vinteuila rozpościerała, nuta po nucie, dźwięk po dźwięku, nieznanne barwy bezcennego, niepodejrzewanego wszechświata, przerywanego lukami powstałymi między audycjami jego dzieł; te dwa tak niepodobne pytania, władające tak odmiennymi tempami sonaty i septetu; jedno łamiące w krótkich wołaniach ciągłą i czystą linię, drugie stapiające w jednolitą armaturę rozproszone fragmenty. Mimo iż jedno tak spokojne i nieśmiałe, prawie oderwane i jakby filozoficzne, drugie tak natarczywe, trwożliwe, błagalne — była to jednak ta sama modlitwa tryskająca w obliczu różnych wewnętrznych wschodów słońca, jedynie załamana w odmiennych sferach innych myśli, wyszukań sztuki postępującej w ciągu lat, w których artysta chciał stworzyć coś nowego. Modlitwa, nadzieja — wciąż w gruncie ta sama — łatwa do poznania pod tymi przebraniem w rozmaitych utworach Vinteuila i skądinąd znajdująca się tylko w jego utworach. Muzykologowie mogliby łatwo ustalić powinowactwa tych fraz, ich genealogię w dziełach innych wielkich muzyków, ale tylko z ubocznych racji, z zewnętrznych podobieństw, analogii raczej zmyślnie odkrytych rozumowaniem niż wprost odczuty. Faza Vinteuila była różna od wszelkiej innej, jak gdyby na wspak konkluzjom wyłaniającym się z wiedzy istniała jedność „indywidualna”. Za to wtedy, kiedy całą mocą starał się być nowy, wówczas pod pozornymi różnicami poznawało się głębokie

<sup>1220</sup> Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Ludovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — wybitny malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt włoskiego renesansu; znany z serii fresków biblijnych na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie oraz namalowanego na ścianie ołtarzowej tej kaplicy fresku *Sąd Ostateczny*. [przypis edytorski]

powinowactwa i celowe podobieństwa zachodzące w łonie samego dzieła. Kiedy Vinteuil podejmował na parę zawodów jedną i tę samą frazę, różnicował ją, zmieniając jakby dla igraszki rytm, znów ją wprowadzał pod pierwotną formą; wówczas te celowe podobieństwa, twory intelektu — tym samym powierzchowne — nigdy nie były tak uderzające jak owe podobieństwa ukryte, mimowolne, wybuchające w różnych barwach między dwoma różnymi arcydziełami; wówczas bowiem Vinteuil, starając się być nowym, wnikał sam w siebie całą potęgą twórczego wysiłku, dosiadał własnej istoty w tych głębościach, gdzie, jakiegokolwiek zada się jej pytanie, odpowiada ona tym samym akcentem — swoim własnym. Taki akcent, ów akcent Vinteuila, dzieli od akcentu innych muzyków różnica o wiele większa, niż ta, którą wyczuwamy między głosami dwóch osób, nawet między rykiem lub krzykiem dwóch gatunków zwierząt; przez samą różnicę zachodzącą między myślą owych innych muzyków a wiekuistymi dociekaniem Vinteuila, pytanie, jakie sobie zadawał w tyłu formach, jego swoista filozofia, ale równie oczyszczona z analitycznych form rozumowania, co gdyby się rozgrywała w świecie aniołów, tak że możemy zmierzyć jej głębokość, ale nie bardziej tłumacząc ją na mowę ludzką, niż są do tego zdolne odcieleśnione duchy, kiedy wywołałszy je, medium zapyta je o tajemnice śmierci. I nawet biorąc w rachubę ową nabytą oryginalność, która mnie uderzyła dziś po południu, owo pokrewieństwo, jakie muzykologowie mogliby znaleźć między nimi, jest to ów jedyny akcent, do którego się wznoszą, do którego wracają mimo woli owi wielcy śpiewacy, jakimi są oryginalni muzycy; akcent będący dowodem nieprzeparcie indywidualnego istnienia duszy. Czy Vinteuil próbował tworzyć w stylu uroczystym, pięknym, czy też chciał być żywszym i weselszym, upiększyć to, co widział odbijające się w duszy ogółu, mimo woli zatapiał to wszystko głęboką falą, która czyni jego śpiew wiecznym i łatwym do poznania. Gdzie on się nauczył tego śpiewu różnego od innych, wspólnego wszystkim jego śpiewom, gdzie go usłyszał? Każdy artysta wydaje się obywatelem jakiejś ojczyzny nieznanej, zapomnianej przez niego samego, różnej od tej, z której się zjawi i wyląduje na ziemi inny wielki artysta. Co najwyżej w ostatnich swoich dziełach Vinteuil zdawał się zbliżać do tej ojczyzny. Atmosfera była w nich już inna niż w sonacie; pytańniki fraz stawały się bardziej nagłe, niespokojne, odpowiedzi bardziej tajemnicze; czyste ranne i wieczorne powietrze oddziaływało nawet na struny instrumentów. Mimo iż Morel grał cudownie, dźwięki jego skrzypiec zdawały mi się szczególnie ostre, niemal krzyżące. Ta ostrość miała swój urok, czuło się w niej, niby w pewnych głosach, jakąś wartość moralną i wyższość intelektualną. Ale to mogło razić. Kiedy wizja wszechświata zmienia się, oczyszcza, kiedy się staje zgodniejsza ze wspomnieniem duchowej ojczyzny, naturalne jest, że to się wyraża u muzyka podniesieniem temperatury dźwięków, jak u malarza — kolorytu. Zresztą najinteligentniejsza publiczność nie myli się w tej mierze, skoro później uznano ostatnie dzieła Vinteuila za najgłębsze, mimo iż żaden program, żaden temat nie dostarczał tym sądom intelektualnego elementu. Odgadywano tedy, że chodzi o transpozycję głębi w sferę dźwięków.

Muzycy nie przypominają sobie tej straconej ojczyzny, ale każdy z nich zostaje zawsze bezwiednie zestrojony z nią w jakimś *unisono*<sup>1221</sup>; szaleje z radości, kiedy śpiewa wedle swojej ojczyzny, zdradza ją czasem dla miłości sławy. Ale wówczas, szukając sławy, ucieka od niej, a znajduje sławę, jedynie gardząc nią, kiedy — bez względu na temat, jaki bierze — intonuje ów osobliwy śpiew, którego monotonia dowodzi stałości elementów składających jego duszę, bez względu bowiem na przedmiot artysta zostaje wierny samemu sobie. Ale wówczas cały realny osad tych składników, który zmuszeni jesteśmy zachować dla siebie, którego nie może udzielić w rozmowie nawet przyjaciel przyjacielowi ani mistrz uczniowi, ani kochanek kochance, owo „niewysłowione”, różnicujące to, co każdy odczuł i co musi zostawić na progu zdań, w których może komunikować się z drugimi jedynie w zakresie zewnętrznych i nieinteresujących wspólnych punktów, czyż nie ujawnia się w sztuce, w sztuce jakiegos Vinteuila, Elstira, w tęczy barwach, wyrażając tajemnicę owych światów, które zwiemy indywidualnymi i których bez sztuki nie poznalibyśmy nigdy? Skrzydła, inny aparat oddechowy, które by nam pozwoliły przebyć bezmiary, nie zdałyby się nam na nic, bo gdybyśmy się udali na Marsa i na Wenus, zachowując te same zmysły, wszystkim, co moglibyśmy tam ujrzeć, dałyby one tę samą postać, jaką oglą-

<sup>1221</sup>*unisono* (z wł., muz.) — jednym głosem, w jednej tonacji. [przypis edytorski]

damy na Ziemi. Jediną prawdziwą podróżą, jedyną kąpielą w wodzie Młodości byłoby iść nie ku nowym krajobrazom, ale mieć inne oczy, widzieć wszechświat oczami kogoś innego, stu innych, widzieć sto światów, które każdy z nich widzi, którym każdy z nich jest; a to możemy uczynić z jakimś Elstirem, z Vinteulem; z podobnymi do nich lecimy naprawdę z gwiazd na gwiazdy.

Andante skończyło się rzewną frazą, której oddałem się cały; po czym przed następną częścią nastąpiła chwila spoczynku, kiedy wykonawcy odłożyli instrumenty, a słuchacze wymienili nieco wrażeń. Pewien książę, chcąc dowieść znawstwa, oświadczył: „To bardzo trudne do dobrego odegrania”. Milsze osoby rozmawiały chwilę ze mną. Ale czym były ich słowa, które jak wszelkie zdawkowe słowo ludzkie zostawiały mnie tak obojętnym, wobec niebiańskiej frazy, z którą dopiero co rozmawiałem? Byłem w istocie jak anioł, który strącony z raju spada w płaską rzeczywistość. I jak pewne stworzenia są ostatnimi świadkami jakiejś formy, której natura poniechała, tak ja dumalem, czy muzyka nie jest jedynym przykładem tego, czym mogłoby być porozumienie dusz, gdyby nie było wynalazku mowy, formacji słów, analizy myśli. Muzyka jest niejako możliwością nie mającą następstw; ludzkość weszła na inne drogi — języka mówionego i pisanego. Ale ten powrót do czegoś niedającego się zanalizować był tak upajający, że po wyjściu z tego raju zetknięcie się z istotami mniej lub więcej inteligentnymi zdawało się straszliwie mdłe. W czasie muzyki mogłem sobie przypominać istoty ludzkie, łączyć je z nią; lub raczej łączyłem z muzyką wspomnienie jednej tylko osoby — Albertyny. I fraza, która kończyła andante, zdawała mi się tak boska, że powiadałem sobie, iż szkoda, że Albertyna nie wie — a gdyby wiedziała, nie zrozumiałaby — jakim zaszczytem jest dla niej być zespoloną z czymś tak wielkim, co nas kojarzy i od czego ona pożycza niejako patetycznego głosu. Ale skoro muzyka się przerwała, obecne w salonie istoty zdawały się nazbyt żadne.

Podano chłodniki. Pan de Charlus zaczął od czasu do czasu któregoś lokaja: „Jak się miewasz? Czyś dostał mój bilecik? Przyjdiesz?”. Zapewne była w tych zagadywaniach swoboda wielkiego pana, który sądzi, że komuś pochlebia, i bardziej jest spoufalony z ludem od mieszcza; ale była i chytryść przestępcy, który myśli, że to, z czym publicznie paraduje, staje się tym samym niewinne. I dodawał tonem „Guermantes” pani de Villeparisis: „To dzielny chłopak, dobry charakter, często zatrudniam go u siebie”. Ale te finty<sup>1222</sup> zwracały się przeciwko baronowi, bo jego poufale grzeczności i bileciki do lokajów zdawały się jednak czymś dość osobliwym. Sami lokaje czuli się zresztą bardziej zakłopotani niż dumni, przez wgląd na kolegów.

Tymczasem septet, który rozpoczął się na nowo, zbliżał się ku końcowi; na parę zawodów jakaś fraza z sonaty wracała, ale za każdym razem zmieniona, w innym rytmie, z innym akompaniamentem, ta sama, a przecie inna, tak jak odradzają się rzeczy w życiu; i była to jedna z tych fraz, które mimo iż niepodobna zrozumieć, co za powinowactwo wyznacza im jako jedyne i nieodzowne mieszkanie przeszłość pewnego muzyka, znajdując się tylko w jego utworach i zjawiając się stale w dziele, niby jego wróżki, driady<sup>1223</sup>, bóstwa domowe. Zrazu wyróżniłem w septeście dwie lub trzy takie, które mi przypomniały sonatę. Niebawem spostrzegłem inną frazę z sonaty, jeszcze tak daleką, że ją ledwo poznałem; skąpana w fioletowej mgłę, która wznosiła się zwłaszcza w ostatniej części dzieła Vinteuila, tak iż nawet kiedy wprowadzał jakiś taniec, była niby uwięziona w opalu; wahała się, zbliżyła, pierzchła jak spłoszona, potem wróciła, splotła się z innymi, przybyłymi — jak się dowiedziałem później — z innych dzieł: wezwała jeszcze inne; te stawały się znowuż na przemian pełne pokus i perswazji i zawodziły koło boskie, lecz niewidzialne dla większości słuchaczy, którzy mając przed sobą jedynie gęstą zasłonę i nie widząc przez nią nic, w dowolnych miejscach przerywali okrzykami podziwu ciężką nudę, która dławiała ich śmiertelnie.

Potem te frazy oddaliły się, z wyjątkiem jednej, wracającej kilka razy, przy czym twarzy jej nie mogłem ujrzeć; ale była tak pieszczotliwa, tak inna — jak inna była z pewnością dla Swanna lekka fraza z sonaty — od tego, czego pragnienie obudziła we mnie jakakolwiek kobieta, tak słodkim głosem ofiarowywała mi szczęście, naprawdę warte osiągnięcia — niewidzialna istota, której języka nie znałem, a którą rozumiałem tak dobrze — je-

<sup>1222</sup>finta — w szermierce: zwód, ruch wykonany dla zmylenia przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>1223</sup>driady (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]



dyna może Nieznajoma, którą mi kiedy dane było spotkać. Potem ta fraza rozpadła się, przeobraziła jak owa „swannowska” fraza w sonacie i znów stała się tajemniczym początkowym wołaniem. Przeciwstawiła się mu inna fraza, bolesna, ale tak głęboka, tak nieuchwytna, tak wewnętrzna, niemal tak organiczna i sięgająca do trzewi, że kiedy wracała, nie wiadomo było, czy to są nawroty tematu muzycznego czy newralgii.

Niebawem dwa motywy sprzegły się w zapasach; to jeden z nich znikał zupełnie, to znów dostrzegało się jakiś strzęp drugiego. Zmagania, prawdę rzekłszy, jedynie energii; bo jeżeli ścierały się te istoty, to wyzwolone z fizycznego ciała, ze swej postaci, imienia, znajdując we mnie widza duchowego, niedbającego również o nazwy i o swoiste cechy, pochłoniętego jedynie ich niematerialną i dynamiczną walką, namiętnie śledzącego dźwięczne jej perypetie. Wreszcie zatriumfował motyw radosny; to już nie był ów niespokojny prawie apel rzucony w puste niebo; to była niewysłowiona radość, jak gdyby płynąca z Raju; radość równie odmienna od radości sonaty, jak od słodkiego i poważnego anioła Belliniego<sup>1224</sup>, grającego na teorbanie<sup>1225</sup>, mógłby być różny jakiś archanioł Mantegny, odziany w szkarłatną suknię i dmący w puzon. Wiedziałem, że tego nowego odcienia radości, tego wołania ku ponadziemskiej radości nie zapomniabym nigdy. Ale czy mogłaby się kiedy ziścić dla mnie? Pytanie zdawało mi się tym ważniejsze, ile że fraza ta mogła najlepiej scharakteryzować owe sprzeczne z resztą mego życia, z widzialnym światem wrażenia, które w rzadkich odstępach odnajdywałem w swoim życiu jako wytyczne punkty dla zbudowania prawdziwego życia: wrażenie wież w Martinville, drzew w pobliżu Balbec. W każdym razie, aby powrócić do swoistego akcentu tej frazy, jakież to było osobliwe, że przecucie najodmienniejsze od tego, co nam wyznacza przyziemne życie, że najśmielsze zbliżenie się do zaziemskiej radości zmateriałizowało się właśnie w smutnym i poprawnym mieszczeniu, którego spotykaliśmy na majowych nabożeństwach w Combray; ale zwłaszcza jak się to stało, że tę najdziwniejszą rewelację nieznanego typu radości zdołałem otrzymać od niego, skoro, jak powiadano, umierając, zostawił tylko sonatę, reszta zaś prawie nie istniała, zagrzebana w notatkach niepodobnych do odczytania. Niepodobnych do odczytania, w końcu jednak odczytanych, siłą cierpliwości, inteligencji i czci, przez jedyną osobę, która dość długo żyła w pobliżu Vinteuila, aby dobrze poznać jego sposób pracy, aby odgadnąć znaki jego instrumentacji: była nią przyjaciółka panny Vinteuil. Jeszcze za życia wielkiego muzyka poznała kult, jaki córka Vinteuila żywiła dla ojca. Właśnie z powodu tego kultu, w chwilach kiedy się idzie na wspak prawdziwym skłonnościom, obie dziewczyny mogły znaleźć obłąkaną przyjemność w profanacjach, które swego czasu opisałem. (Adoracja dla ojca była wręcz warunkiem świętokradztwa córki. Niewątpliwie, powinny były sobie odmówić rozkoszy tego świętokradztwa, ale nie wyrażały ich ono całkowicie). Zresztą profanacje te stawały się coraz radsze, w końcu znikły zupełnie, w miarę jak fizyczne i chorobliwe stosunki, niby mętny i dymny żar, ustąpiły płomieniowi wzniosłej i czystej przyjaźni. Przyjaciółkę panny Vinteuil przesywała czasem dotkliwa myśl, że może ona przyspieszyła śmierć staroego. Trawiąc lata na odcyfrowywaniu rękopisów Vinteuila, ustalając niemylnie lekturę tych hieroglifów, przyjaciółka panny Vinteuil miała tę pociechę, że muzykowi, którego ostatnie lata zasmuciła, zapewniła w odplatę nieśmiertelność. Stosunki nieuświęcone prawem wynikają z węzłów pokrewieństwa równie wielorakich, równie złożonych, jedynie silniejszych niż te, które się rodzą z małżeństwa. Nawet nie wdając się w rozważanie stosunków o charakterze zbyt specjalnym, czyż nie widzimy co dnia, że cudzołóstwo, kiedy się wspiera na prawdziwej miłości, nie osłabia uczuć i powinności rodzinnych, ale je wzmacnia. Wiarołomstwo wprowadza ducha w literę, która bardzo często w małżeństwie pozostałaby martwa. Dobra córka, która jedynie przez konwenans będzie nosiła żalobę po drugim mężu matki, ileż wyleje łez, oplakując człowieka, którego matka wybrała spośród wszystkich za kochanka. Zresztą panna Vinteuil działała jedynie przez sadyzm, co jej nie usprawiedliwiała, ale znajdowałem później niejaką słodycz w tej myśli. W chwili gdy profanowała z przyjaciółką fotografię ojca, musiała (tak myślałem) zdawać sobie sprawę, że wszystko to jest jedynie chorobą, szaleństwem, nie zaś prawdziwym i radosnym okru-

<sup>1224</sup>Bellini, *Giovanni* (ok. 1430–1516) — malarz włoski epoki renesansu, twórca weneckiej szkoły kolorystycznej, najwybitniejszy z malarskiej rodziny Bellinich; autor głównie obrazów religijnych i portretów. [przypis edytorski]

<sup>1225</sup>teorban — lutnia basowa, duży strunowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

ciemstwem, jakiego by pragnęła. Myśl, że to jest jedynie komedia okrucieństwa, psuła jej rozkosz. Ale jeżeli ta myśl mogła jej wrócić później, wówczas, tak jak zepsuła rozkosz, tak musiała zmniejszyć jej cierpienie. „To nie byłam ja — musiała sobie powiedzieć — byłam obłąkana. Chcę się jeszcze modlić za ojca, nie rozpaczać o jego dobroci”. Ale możliwe jest, że ta myśl, która z pewnością nastęrczyła się jej w rozkoszy, nie nastęrczyła się jej w cierpieniu. Byłbym chciał móc jej podsunąć tę myśl. Jestem pewny, żebym jej oddał przysługę i że zdołałbym stworzyć dość słodką styczność między nią a wspomnieniem ojca.

Niby z nieczytelnych kajetów, w których genialny chemik, nie wiedząc, że śmierć jego jest tak bliska, notuje odkrycia mające może zostać na zawsze nieznanne, przyjaciółka panny Vinteuil wydobyła z papierów bardziej nieczytelnych niż papirusy wypełnione pismem klinowym<sup>1226</sup>, wiecznie prawdziwą, wiekuiście płodną formułę owej nieznannej radości, mistycznej nadziei szkarłatnego anioła poranku. A ja, dla którego mniej może niż dla samego Vinteuilu ta kobieta była także, jeszcze tego wieczora — miała być zwłaszcza w przyszłości, budząc na nowo zazdrość o Albertynę — przyczyną tylu cierpień, dzięki niej, w odplatę, mogłem usłyszeć dziwne wołanie, którego nie przestanę już słyszeć nigdy, jako przyrzeczenie i dowód, że istnieje coś innego niż nicość, którą znalazłem we wszystkich rozkoszach i w samej miłości; coś możebnego do osiągnięcia zapewne przez sztukę; i że jeżeli życie wydawało mi się tak czcze, to przynajmniej nie wyczerpało ono wszystkiego.

To, co młoda kobieta dzięki swojej pracy objawiła z Vinteuilu, to było, prawdę rzekłszy, całe jego dzieło. Przy tym septyecie niektóre frazy z sonaty, jedyne, które publiczność знаła, zdawały się tak banalne, iż niepodobna było zrozumieć, jak mogły niegdyś budzić tyle zachwyty. Podobnie dziwi nas, że przez lata kawałki tak błahe jak *Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety*<sup>1227</sup> mogły wprawiać na koncertach w szał fanatyków, którzy klaskali bez końca i krzyczeli „bis” po skończeniu utworów będących przecież nędzą dla nas, znających *Tristana*<sup>1228</sup>, *Złoto Renu*<sup>1229</sup>, *Śpiewaków norymberskich*<sup>1230</sup>. Trzeba przypuszczać, że te bezbarwne melodie już zawierały, choć w minimalnych (i przez to może łatwiejszych do przyswojenia) ilościach, coś z oryginalności arcydzieł, jedynych, które dziś liczą się dla nas, ale których zrozumienie utrudniałaby może sama ich doskonałość; tamte przygotowały im może drogę w sercach. To pewne, że jeżeli tamte melodie dawały mgliste przecucie przyszłego piękna, grały je w powszechnej nieświadomości. Tak samo z Vinteuilem; gdyby umierając, zostawił — poza pewnymi partiami sonaty — jedynie to, co zdołał skończyć, wówczas to, co by się zeń znało, byłoby wobec jego prawdziwej wielkości czymś równie błahym, jak gdyby Wiktor Hugo na przykład umarł po *Pas d'Armes du roi Jean*, po *Fiancée du Timbalier* i *Sarah la baigneuse*<sup>1231</sup>, nie napisawszy *Legendy wieków* ani *Kontemplacji*<sup>1232</sup>; to, co jest dla nas jego prawdziwym dziełem, zostałoby czysto potencjalne, równie nieznanne jak owe światy, których nasze poznanie nie dosięga, o których nigdy nie będziemy mieli pojęcia.

Zresztą pozorny kontrast, owa głęboka łączność między geniuszem (także talentem, a nawet cnotą) a futerałem przywar, w którym, jak się to zdarzyło Vinteuilowi, jest on tak często zawarty i przechowany, były czytelne, niby w przejrzystej alegorii, w samym zebraniu gości, wśród których się znalazłem po skończeniu koncertu. Zebranie, mimo że ograniczone tym razem do salonu pani Verdurin, podobne było do wielu innych, których

<sup>1226</sup>papirusy wypełnione pismem klinowym — w rzeczywistości pismem klinowym, używanym w starożytności na Bliskim Wschodzie, nie pisano na papirusie: złożone z klinów znaki tworzone, dociskając końcówkę rylca do powierzchni tabliczki z gliny. [przypis edytorski]

<sup>1227</sup>*Pieśń do gwiazdy*, *Modlitwa Elżbiety* — pieśni z opery Richarda Wagnera *Tannhäuser* (1845). [przypis edytorski]

<sup>1228</sup>*Tristan i Izolda* — dramat muzyczny Wagnera z 1859, bazujący na historii Tristana i Izoldy z cyklu legend arturiańskich. [przypis edytorski]

<sup>1229</sup>*Złoto Renu* — pierwsza część tetralogii Wagnera *Pierścień Nibelunga*, wystawiona po raz pierwszy w 1869. [przypis edytorski]

<sup>1230</sup>*Śpiewacy norymberscy* — opera Wagnera z 1868. [przypis edytorski]

<sup>1231</sup>*Pas d'Armes du roi Jean*, *Fiancée du Timbalier*, *Sarah la baigneuse* — wczesne utwory poetyckie Viktora Hugo z lat 1823–1829, do których następnie napisali muzykę wielcy kompozytorzy XIX w., Camille Saint Saëns i Hector Berlioz. [przypis edytorski]

<sup>1232</sup>*Kontemplacje* a. *Zamyślenia* — *Les Contemplations* (1855), obszerny zbiór wierszy Viktora Hugo, poświęcony jego 19-letniej córce, która utonęła w Sekwanie. [przypis edytorski]

elementów nie zna szeroka publiczność, a które filozofujący dziennikarze, bodaj trochę poinformowani, nazywają paryskimi lub panamistycznymi<sup>1233</sup>, lub dreyfusowskimi, nie podejrzewając, że można je spotkać tak samo w Petersburgu, w Berlinie, w Madrycie, i w każdej epoce. W istocie, jeżeli podsekretarz stanu sztuk pięknych, prawdziwy artysta, człowiek wytworny i snob, parę diuszów i trzech ambasadorów z żonami znaleźli się owego wieczora u pani Verdurin, bezpośrednim źródłem ich obecności były stosunki łączące pana de Charlusa z Morelem, stosunki, które pobudziły barona do tego, aby dać największy rozgłos sukcesom swego młodego bożyszcza i uzyskać dlań Krzyż Legii. Dalszą przyczyną, która umożliwiła to zebranie, był fakt, iż młoda dziewczyna, utrzymująca z panną Vinteuil stosunki równie podejrzane, wydobyła na światło serię genialnych dzieł, które stały się taką rewelacją, że niebawem otwarto subskrypcję pod patronatem ministerstwa oświaty celem wzniesienia Vinteuilowi pomnika. Zresztą jak stosunki panny Vinteuil z przyjaciółką, tak i stosunki barona z Morelem stały się użyteczne dla tych dzieł; stworzyły rodzaj przecznicy, skrót drogi, dzięki któremu świat miał się zetknąć z tymi dziełami bez przeszkód jeżeli nie niezrozumienia, które miało trwać długo, to bodaj całkowitej niewiedzy, która mogłaby trwać całe lata. Za każdym razem kiedy zachodzi wydarzenie dostępne umysłowi felietonowego filozofa — to znaczy przeważnie wydarzenie polityczne — felietonowy filozof jest przekonany, że coś się zmieniło we Francji, że już się nie ujrzy podobnych wieczorów, że już się nie będzie podziwiał Ibsena<sup>1234</sup>, Renana<sup>1235</sup>, Dostojewskiego<sup>1236</sup>, d'Annunzia<sup>1237</sup>, Tolstoja<sup>1238</sup>, Wagnera, Straussa<sup>1239</sup>. Bo dziennikarze-filozofowie z dwuznacznych podszepek tych oficjalnych manifestacji czerpią argumenty na to, aby znaleźć coś „dekadencej” w entuzjastycznie powitanej sztuce, która często jest ascetyczniejsza od innych. Ale nie ma nazwiska spośród nazwisk najbardziej czczonych przez tych felietonowych filozofów, które by najnaturalniej nie dało powodu do takich dziwnych biesiad, choćby dziwność ich była mniej jaskrawa i lepiej ukryta.

Co się tyczy tej fety, nieczyste elementy, które się w niej skojarzyły, uderzały mnie z innego punktu widzenia; niewątpliwie mógłbym bez trudu zanalizować je, mając sposobność poznać je oddzielnie. Ale jedne, wiążące się z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, mówiąc o Combray, mówiły mi zarazem o Albertynie, to znaczy o Balbec: przecież dlatego że nigdy nie widział panny Vinteuil w Montjouvain i że się dowiedział o zażyłości jej przyjaciółki z Albertyną, miałem za chwilę, wróciwszy, zastać — zamiast samotności — czekającą na mnie Albertynę. Drugie, dotyczące Morela i pana de Charlusa, mówiąc mi o Balbec (gdzie patrzył na początek ich stosunków na peronie w Doncières), mówiły mi o Combray i o jego dwóch „stronach”, bo pan de Charlus był jednym z Guermantów, hrabiów na Combray, mieszkających w Combray — mimo iż nie posiadających tam domu — między niebem a ziemią, jak Gilbert Zły na swoim witrażu. Morel wreszcie był synem starego kamerdynera, który mi dał poznać „różową damę” i pozwolił mi w tyle lat później rozpoznać w niej panią Swann!

<sup>1233</sup>panamistyczny — związany z poglądem o istnieniu powszechnego ducha, duszy wcielonej w całość wszechświata. [przypis edytorski]

<sup>1234</sup>Ibsen, Henryk (1828–1906) — dramaturg norweski, początkowo tworzący utwory oparte na motywach historycznych, legendach i sagach skandynawskich, później podjął tematykę społeczno-obyczajową w duchu realizmu i naturalizmu; autor m.in. dramatów *Nora czyli dom lalki* oraz *Dzika kaczka*. [przypis edytorski]

<sup>1235</sup>Renan, Joseph Ernest (1823–1892) — francuski pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof pozytywista, krytyczny badacz historii religii; zasłynął jako autor pracy *Historia początków chrześcijaństwa* (1863–1883), z której szczególnie znany jest tom I pt. *Żywot Jezusa*. [przypis edytorski]

<sup>1236</sup>Dostojewski, Fiodor (1821–1881) — wybitny powieściopisarz rosyjski, mistrz realistycznej prozy psychologicznej; autor m.in. powieści *Zbrodnia i kara*, *Idiota*, *Biesy*, *Bracia Karamazow*. [przypis edytorski]

<sup>1237</sup>D'Annunzio, Gabriele (1863–1938) — włoski powieściopisarz, poeta i dramaturg, lotnik wojskowy podczas I wojny światowej, po wojnie nacjonalistyczny agitator, wywarł znaczny wpływ na Mussoliniego; w literaturze zasłynął z pierwszych prób futurystycznych, później skłaniał się do ekspresjonizmu; znany zwłaszcza z bestsellerowej powieści *Triumf śmierci* (1894). [przypis edytorski]

<sup>1238</sup>Tolstoj, Lew (1828–1910) — rosyjski prozaik i dramaturg, myśliciel, krytyk literacki i publicysta; przedstawiciel realizmu, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość, głosił doktrynę „niesprzeciwiania się złu przemocą”, potrzebę odnowienia moralnego i powrotu do natury; autor m.in. powieści: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*; jego utwory wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej jego epoki. [przypis edytorski]

<sup>1239</sup>Strauss, Richard (1864–1949) — niemiecki kompozytor i dyrygent, jeden z czołowych kompozytorów późnego romantyzmu; tworzył początkowo głównie poematy symfoniczne, później opery, pisane pod wpływem Wagnerowskiej koncepcji dramatu muzycznego. [przypis edytorski]

W chwili gdy po skończeniu muzyki goście pana de Charlus zaczęli się z nim żegnać, baron popełnił ten sam błąd co za ich przybyciem. Nie poprosił, aby się zwrócili do „pryncypalki”, aby wdzięcznością, jaką mu wyrażano, objęto ją i jej męża. Nastąpiła długa defilada, ale defilada przed samym baronem, z czego zresztą zdawał sobie sprawę, mówiąc mi w chwilę później: „Sama forma uroczystości artystycznej przybrała później dość zabawny charakter »zakrystii«”. Przedłużano nawet podziękowania w rozmowach, które pozwalały winszującym zostać dłużej z baronem, gdy ci, którzy mu jeszcze nie powinszowali udanego wieczoru, wystawali i dreptali w miejscu. Niejeden mąż miał ochotę odejść, ale żona, snobka, mimo iż diuszesa, protestowała: „Nie, nie, choćbyśmy mieli czekać godzinę, nie możemy odejść, nie podziękowawszy Palamedowi, który sobie zadał tyle trudu. On jeden zdolny jest dziś dawać takie uczyty duchowe”. Nikt nie pomyślał o tym, aby się przedstawić pani Verdurin, tak jak nikomu by nie przyszło na myśl przedstawiać się bileterce w teatrze, do którego wielka dama ściągnęłaby na jeden wieczór całą arystokrację.

— Był kuzyn wczoraj u Eliany de Montmorency? — spytała pani de Mortemart, żądna przedłużyć rozmowę.

— Och, Boże, nie; bardzo lubię Elianę, ale nie rozumiem sensu jej zaproszeń. Jestem zapewne trochę ograniczony — dodał baron z szerokim uśmiechem zadowolenia, gdy pani de Mortemart czuła, że będzie miała nowalię „Palameda”, jak często miewała nowalię „Oriany”. — Dostałam przed dwoma tygodniami bilecik od dobrej Eliany. Nad nazwiskiem „Montmorency”, grubo spornym, znajdowało się to uprzejme zaproszenie: „Kuzynie, bądź tak łaskaw pomyśleć o mnie w przyszły piątek o wpół do dziesiątej”. Poniżej widniały dwa słowa mniej wdzięczne: „Kwartet czeski”. Słowa te były niezrozumiałe, w każdym razie bez większego związku z poprzednim zdaniem, jak owe listy, na których odwrocie zaczęto inny list, rozpoczynający się od „Drogi przyjacielu”, przy czym brak dalszego ciągu: widać piszący, przez roztargnienie lub przez oszczędność nie wziął nowej ćwiartki. Bardzo lubię Elianę; toteż nie miałem do niej pretensji, po prostu przeszedłem do porządku nad dziwnym i niewczesnym „kwartetem czeskim”; że zaś jestem człowiekiem systematycznym, położyłem na kominku zaproszenie, aby „myśleć o pani de Montmorency” w piątek o wpół do dziesiątej. Mimo iż znany z mojej natury posłusznej, punktualnej i łagodnej, jak powiada Buffon<sup>1240</sup> o wielbłądzie — tu śmiech błysnął szerzej na twarzy pana de Charlus, świadomego, przeciwnie, że go świat uważa za człowieka najtrudniejszego w pożyciu — spóźniłem się o kilka minut (ot, tyle, żeby się przebrać w szlafrok) i bez zbytnich wyrzutów sumienia, uważając, że wpół do dziesiątej znaczy dziesiąta, punkt o dziesiątej w wygodnym szlafroku, w ciepłych pantoflach siadłem sobie przy ogniu, aby myśleć o Elianie, jak mnie o to prosiła, z intensywnością, która zaczęła słabnąć o wpół do jedenastej. Powiedz jej, proszę cię, kuzynko, że byłem ściśle posłuszny jej śmiałemu żądaniu. Myślę, że będzie rada.

Pani de Mortemart pękała ze śmiechu, a pan de Charlus wtórował jej.

— A jutro — dodała, nie myśląc o tym, że już przekroczyła, i to grubo, czas, do którego miała prawo — czy będziesz u kuzynów La Rochefoucauld?

— Och, niepodobieństwo! Zaprosili mnie i ciebie, jak widzę, na rzecz najniemożliwszą do pojęcia i do wykonania, a która się zwie, jeśli mam wierzyć zaproszeniu: „Herbata tańcząca”<sup>1241</sup>. Uchodziłem za młodu za bardzo zręcznego, ale wątpię, czy byłbym zdolny bez szwanku dla przyzwoitości pić herbatę, tańcząc. Otóż nigdy nie lubiłem jeść ani pić w sposób niechlujny. Powie mi kuzynka, że dziś nie mam już obowiązku tańczyć. Ale nawet siedząc wygodnie i pijąc herbatę — do której jakości nie mam zresztą zaufania, skoro się zowie „tańcząca” — bałbym się, że inni goście, młodszy i może mniej zręczni niż ja byłem w ich wieku, obleją mi herbatą frak, co by zmąciło przyjemność wypicia mojej filiżanki.

<sup>1240</sup> Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>1241</sup> herbata tańcząca (fr. *thé dansant*) — popołudniowe tańce z drobnym poczęstunkiem, organizowane w tradycyjnej porze picia herbaty, popularne w 2 poł. XIX w. i pierwszych dekadach XX w., początkowo na przedmieściach, w miastach garnizonowych, w kąpieliskach itp. [przypis edytorski]

Ale pan de Charlus nie ograniczył się nawet do tego, aby pomijać w rozmowie panią Verdurin i mówić o wszelkiego rodzaju tematach, znajdując widoczną przyjemność w ich rozwijaniu, a to dla sadystycznej przyjemności, jaką czerpał w tym, żeby trzymać bez końca na nogach i „w ogonku” osoby czekające z rezygnacją na swoją kolej. Baron krytykował całą część wieczoru, za którą odpowiedzialna była pani Verdurin:

— Ale *à propos* filiżanki, co to są za dziwne kubki podobne do tych, w których, kiedy byłem młodym człowiekiem, przysyłano sorbety od Poiré Blanche. Mówiono mi przed chwilą, że to na „kawę mrożoną”. Ale co się tyczy kawy mrożonej, nie widziałem ani kawy, ani mrozu. Jakieś osobliwe „coś” o nieokreślonym przeznaczeniu.

Mówiąc to, pan de Charlus zasłonił usta dłonią w białej rękawiczce i zerknął dyskretnie, tak jakby się obawiał, że go mogą usłyszeć, a nawet zobaczyć państwo domu. Ale to była tylko gra, bo za chwilę powtórzył to samo „pryncypałe”, a nieco później wypalił jej impertynencko: „A zwłaszcza już bez filiżanek do mrożonej kawy. Niech je pani daruje jakiejś przyjaciółce, której pani chce zszpecić dom. Ale niech ich nie podaje w salonie, bo mógłby ktoś pomyśleć, że się omylił co do ubikacji. To są najautentyczniejsze urny!”.

— Ależ kuzynie — mówiła dama, zniżając również głos i spoglądając pytająco na pana de Charlus, nie przez wzgląd na panią Verdurin, ale z obawy gniewu barona — może to stąd, że ona jeszcze nie umie dobrze wszystkiego...

— Nauczy się ją.

— Och! — śmiała się dama — nie mogła znaleźć lepszego profesora! Ta ma szczęście! Z kuzynem człowiek jest pewny, że nie będzie fałszywej nuty.

— W każdym razie nie było jej w muzyce.

— Och! To było boskie. To są rozkosze, których się nie zapomina. *À propos* tego genialnego skrzypka — ciągnęła, myśląc w swojej naiwności, że pan de Charlus interesuje się skrzypkiem „jako takim” — czy pan zna skrzypka, który kiedyś grał cudownie sonatę Faurego<sup>1242</sup>, nazywa się Frank...

— Tak, to ohyda — odparł pan de Charlus, nie troszcząc się o brutalność, z jaką dał uczuć kuzynce, że nie ma za grosz smaku. — W zakresie skrzypków radzę kuzynce trzymać się mojego.

Znów zaczęły się krzyżować oczy pana de Charlus i jego kuzynki, spuszczone i bawdawcze zarazem, bo zarumieniona i siłaca się swoim zapałem naprawić gafę pani de Mortemart chciała zaproponować panu de Charlus urządzenie wieczoru dla Morela. Otóż dla niej wieczór ów nie miał — mimo iż tak twierdziła — na celu propagandy talentu, gdy właśnie to było celem pana de Charlus. Ona widziała jedynie sposobność do wydania szczególnie eleganckiego rautu i już obmyślała, kogo zaprosi, a kogo pominie. To przesiewanie przez sito, główne zajęcie osób wydających zabawy (tych właśnie, które czelność lub głupota dzienników „światowych” nazywa „elitą”), zmienia natychmiast spojrzenie — i pismo — głębiej, niżby to uczyniła sugestia hipnotyzera. Co by Morel miał grać, było dla niej rzeczą uboczną, i słusznie, bo gdyby nawet przez wzgląd na pana de Charlus wszyscy zechcieli milczeć w czasie muzyki, nikomu w zamian nie przyszłoby na myśl słuchać. O tym też pani de Mortemart nie pomyślała, postanowiła natomiast w lot, że pani de Valcourt nie będzie z rzędu wybranych; tym samym przybrała minę spiskowca. Do takich spisków zniżają się nawet te damy, które mogłyby śmiało drwić sobie z ludzkich sądów.

— Czy nie mogłabym wydać rautu, aby zaprodukować pańskiego przyjaciela? — szepnęła pani de Mortemart, ale zwracając się do pana de Charlus, bezwiednie, jak urzeczona, spojrziała na panią de Valcourt (wykluczoną) dla upewnienia się, czy ta dama nie słyszy. „Nie, nie może słyszeć, co ja mówię” — zakonkludowała w duchu, uspokojona własnym spojrzeniem, które przeciwnie, miało na panią de Valcourt wpływ wręcz sprzeczny z jego celem. „Oho! — powiedziała sobie pani de Valcourt — Maria Teresa organizuje z Palamedem coś, na czym ja nie mam być”.

— Chce kuzynka powiedzieć: mojego protegowanego — poprawił pan de Charlus, równie bezwzględny wobec wiedzy gramatycznej kuzynki, co wobec jej darów muzycznych. Potem, nie biorąc w rachubę niemych próśb pani de Mortemart, która tłumaczyła się z uśmiechem: „Ależ owszem — rzekł, krzycząc na cały salon: — mimo że zawsze jest

<sup>1242</sup>Fauré, Gabriel Urbain (1845–1924) — francuski kompozytor i organista. [przypis edytorski]

pewne niebezpieczeństwo w takim przenoszeniu olśniewającej indywidualności w ramę, która nieodzownie musi uszczuplić jej siłę transcendentalną i którą w każdym razie trzeba by dostosować.

Pani de Mortemart pomyślała, że *mezzo voce*<sup>1243</sup>, nawet *pianissimo*<sup>1244</sup> jej zapytania było straconym trudem wobec poryku odpowiedzi. Omyliła się. Pani de Valcourt nie usłyszała nic z tej prostej przyczyny, że nie rozumiała ani słowa. Jej niepokój zmniejszył się i zgasłby szybko, gdyby pani de Mortemart — bojąc się, że wobec tej niedyskrecji będzie musiała zaprosić panią de Valcourt, z którą była zbyt blisko, aby ją pominąć, o ile tamta wiedziała o czymś „z góry” — nie podniosła znów powiek w kierunku Edyty, jakby po to, aby nie stracić z oczu niebezpieczeństwa, opuszczając zresztą żywo powieki, aby się zanadto nie angażować. Zamierzała nazajutrz po wieczorze przesłać jej list, dopełnienie niedyskretnego spojrzenia, jeden z owych listów niby to zręcznych, a w istocie będących jawnym przyznaniem. Na przykład: „Droga Edyto, tęsknię za tobą, nie bardzo spodziewałam się ciebie wczoraj wieczór (jakim cudem miała się mnie spodziewać — pomyślała Edyta — skoro mnie nie zaprosiła?), bo wiem, że niezbyt lubisz ten rodzaj zabawy. Mimo to bylibyśmy bardzo zaszczytzeni twoją obecnością (nigdy pani de Mortemart nie używała tego zwrotu: „zaszczytzeni”, wyjąwszy wtedy, gdy starała się w liście dać kłamstwu pozór prawdy). Wiesz, że jesteś zawsze w naszym domu u siebie. Zresztą dobrze zrobiłaś, bo to było całkiem chybione, jak każda rzecz zaimprovizowana w dwie godziny, itd.”. Ale już nowe zerknięcie pani de Mortemart zdradziło Edycie wszystko, co jej skrył skomplikowany język pana de Charlus. Spojrzenie to było nawet tak silne, że zawarty w nim oczywisty sekret i intencja ukrycia go, potrąciwszy panią de Valcourt, trysnęły na młodego Peruwiańczyka, którego przeciwnie, pani de Mortemart chciała zaprosić. Ale ten podejrzliwy człowiek, widząc najpewniej, że są tu w grze jakieś sekrety, a nie mogąc zgadnąć, że nie chodzi o niego, powziął odtąd dziką nienawiść do pani de Mortemart, poprzysiął sobie spłacać jej tysiąc figłów, na przykład kazać jej posłać pięćdziesiąt mrożonych kaw w dniu, kiedy nie będzie przyjmowała, dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism<sup>1245</sup>, że zabawę odwołano, i podać kłamliwe sprawozdania z innych jej przyjęć, zamieszczając spis właśnie tych osób, których z rozmaitych powodów pani domu nie chce przyjmować ani nawet znać.

Pani de Mortemart niepotrzebnie się troszczyła o panią de Valcourt. Pan de Charlus miał popsuć projektowaną fetę o wiele skuteczniej, niżby to zrobiła obecność tej damy.

— Ależ kuzynie — rzekła pani de Mortemart w odpowiedzi na wzmiankę o „dostosowaniu ramy”, której sens pod wpływem nerwowego podniecenia zdołała zrozumieć — oszczędzimy ci wszelkiego trudu, chętnie podejmuję się uprosić Gilberta, żeby się zajął wszystkim.

— Nie ma potrzeby, zwłaszcza że nie będzie zaproszony. Wszystko załatwię sam. Chodzi przede wszystkim o to, aby wykluczyć osoby mające uszy nie do słyszenia.

Kuzynka pana de Charlus licząca na atrakcyjność Morela, aby wydać wieczór, na którym, w przeciwieństwie do tylu krewnych, mogłaby powiedzieć, że „miała Palamedę”, uprzytomniła sobie nagle mnogość osób, z którymi pan de Charlus ją poróżni, skoro zacznie wykluczać i zapraszać. Myśl, że księżę Gilbert (z powodu niego po części chciała wykluczyć panią de Valcourt, której księżę nie przyjmował) miałby nie być proszony, przerażała ją. Oczy jej przybrały niespokojny wyraz.

— Czy razi cię światło? — spytał pan de Charlus z udaną powagą, której ironia pozostała niezrozumiana.

— Nie, wcale nie, myślałam o trudnościach, oczywiście nie z mojego powodu, ale z powodu mojej rodziny... jakie by mogły wynikać, w razie gdyby się Gilbert dowiedział, że ja wydałam wieczór, nie zapraszając go... on, który zawsze, z najblahszej okazji...

— Właśnie o to chodzi, że okazja nie jest najblahsza. Sądzę, że zgiełk rozmów przeszkodził kuzynce słyszeć, że nie chodzi to o światowe grzeczności, ale o przestrzeganie rytuału właściwego prawdziwemu nabożeństwu.

<sup>1243</sup>*mezzo voce* (wł.) — półgłos; *mezza voce* (muz.): półglosem, ze stonowaną, umiarkowaną głośnością. [przypis edytorski]

<sup>1244</sup>*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

<sup>1245</sup>*dać w dniu jej przyjęcia notatkę do pism, że zabawę odwołano* — taką złośliwość zrobiono w istocie hr. Robertowi de Montesquiou, przyjacielowi Prousta, w dniu, w którym wydawał przyjęcie. [przypis tłumacza]

Po czym uznawszy nie to, że następna osoba zbyt długo czeka, ale że nie przystoi przedłużać faworu tej, która miała na oku nie tyle Morela, ile własną „listę” gości, pan de Charlus, niby lekarz przerywający konsultację, skoro uzna, że siedział dość długo, dał do zrozumienia kuzynce, że audyencja skończona, nie żegnając jej, ale obracając się do następnej z brzegu osoby:

— Dobry wieczór, pani de Montesquiou, cudowne było, prawda? Nie widziałem Heleny, niech jej pani powie, że wszelka generalna abstynencja, nawet najszlachetniejsza jak jej, dopuszcza wyjątki, o ile są tak wspaniałe jak dzisiejszy wieczór. Pokazywać się rzadko to pięknie, ale to przymiot jedynie negatywny; powyżej tego, co rzadkie, stawić to, co cenne, to jeszcze lepiej. Co się tyczy pani siostry, bardziej od kogokolwiek cenię jej systematyczną nieobecność, tam gdzie to, czego się może spodziewać, nie jest jej warte; ale przeciwnie, na tak pamiętnej manifestacji jak dzisiejsza udział jej byłby dowodem wyższości i dałby tej uroczej osobie jeszcze jeden urok.

Baron podszedł z kolei do pana d'Argencourt. Bardzo się zdziwiłem, widząc tu tego człowieka, tak straszliwego dla gatunku ludzi, do którego należał pan de Charlus, i widząc go równie czułym i uprzejmym dla barona, jak był dlań niegdyś oschły. Pan d'Argencourt kazał sobie przedstawić Morela i wyraził nadzieję, że go skrzypek odwiedzi. Faktem jest, że teraz pan d'Argencourt żył w otoczeniu takich figur. Nie znaczy to, aby się w tej mierze upodobnił do pana de Charlus. Ale od jakiegoś czasu niemal opuścił żonę dla młodej kobiety z towarzystwa, za którą szalał. Osoba ta, bardzo inteligentna, udzieliła mu swojej sympatii do ludzi inteligentnych i bardzo pragnęła ściągnąć do siebie pana de Charlus. Ale zwłaszcza pan d'Argencourt, bardzo zazdrosny, a trochę impotent, czując, że mało daje satysfakcji swojej ubóstwianej, chcąc ją wprowadzić w świat i rozerwać, mógł to uczynić bez niebezpieczeństwa, jedynie otaczając ją niegroźnymi mężczyznami, którym przeznaczał niejako rolę strażników seraju<sup>1246</sup>. W zamian panowie ci uważali, że pan d'Argencourt zrobił się bardzo miły, oświadczyli, że jest o wiele inteligentniejszy, niż przypuszczali, z czego i jego kochanka, i on byli uszczęśliwieni.

Inni goście pana de Charlus odeszli dość szybko. Damy mówiły: „Nie chciałabym chodzić do »zakrystii« (salonik, gdzie baron, mając koło siebie Morela, przyjmował powinszowania i który sam tak nazywał), ale chciałabym, żeby mnie Palamed widział i wiedział, żem była do końca”. Żadna z dam nie troszczyła się o panią Verdurin. Niektóre udały, że jej nie poznają, i żegnały się przez pomyłkę z panią Cottard, mówiąc do mnie: „To pani Verdurin, prawda?”. Pani d'Arpajon spytała mnie tak, że gospodyni domu musiała słyszeć: „Czy istniał jakiś pan Verdurin?”. Nie znajdując nic z dziwności, jakich się spodziewały w tym salonie, który wyobrażały sobie bardziej różnym od wszystkiego, co znały, diuszesy nagradzały to sobie, w braku czego lepszego dławiąc wybuchy śmiechu wobec obrazów Elstira; za resztę, która znowuż wydawała się im podobniejsza do tego, czego się spodziewały, komplementowały pana de Charlus, mówiąc: „Jak ten nasz Palamed umie organizować te rzeczy; mógłby urządzić feerię w stajni czy w łazience, a i tak byłoby cudownie”. Najświetniejsze damy z zapałem winszowały panu de Charlus udanego wieczoru, którego sekretna sprężyna nie była tajemnicą dla wielu, co ich zresztą nie kłopotowało w niczym, ile że ci ludzie — może przez pamięć pewnych epok, kiedy ich rodzina doszła do identycznego stopnia całkiem świadomego bezwstydu — posuwali lekceważenie skrupułów prawie równie daleko jak troskę o etykietę. Wiele dam zaangażowało z miejsca Morela na wieczory, na których miał grać septet Vinteuila, ale żadnej nie przyszło nawet na myśl zaprosić na to panią Verdurin.

Pani Verdurin trzęsła się z wściekłości, kiedy pan de Charlus, który bujając w obłokach, nie mógł tego spostrzec, chciał dla przyzwoitości podzielić z „pryncypałką” swoją radość. I może raczej folgując swym zamiłowaniom literackim niż wybuchowi pychy, ten reżyser artystycznych zabaw rzekł do niej:

— No i co, czy pani kontenta? Sądzę, że jest z czego. Widzi pani, kiedy ja się wezmę do tego, żeby coś urządzić, musi się udać. Nie wiem, czy pani heraldyczne wiadomości pozwalają jej ściśle ocenić wagę uroczystości, ciężar, który podźwignąłem, objętość atmosfery, którą przemieściłem dla pani. Miała pani królową Neapolu, brata króla bawarskiego, trzech najdawniejszych parów. Jeżeli Vinteuil jest Mahometem, możemy powiedzieć, że

<sup>1246</sup>seraj — kobieca część tradycyjnego domu muzułmańskiego. [przypis edytorski]

poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór<sup>1247</sup>. Niech pani pomyśli, że aby wziąć udział w pani wieczorze, królowa Neapolu przybyła z Neuilly, co jest dla niej o wiek trudniejsze niż opuścić Obie Sycylie — rzekł baron z szelmowską intencją mimo swej admiracji<sup>1248</sup> dla królowej. — To jest wydarzenie historyczne. Pomyśl pani, ona bodajże nigdzie nie była od zdobycia Gaety. Wielce prawdopodobne jest, że w encyklopediach znajdują się, jako historyczne momenty, data zdobycia Gaety i wieczoru u Verdurinów. Wachlarz, który odłożyła, aby lepiej oklaskiwać Vinteuila, wart jest zażywać większej sławy niż ten, który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera<sup>1249</sup>.

— Zapomniała nawet swego wachlarza — rzekła pani Verdurin, chwilowo ułagodzona wspomnieniem sympatii, jaką jej okazała królowa, i pokazując panu de Charlus wachlarz leżący na fotelu.

— Och! Jakież to wzruszające! — wykrzyknął pan de Charlus, zbliżając się ze czcią do relikwii. — Jest tym bardziej wzruszający, że jest szkaradny; ten fiołek jest niesamowity!

Spazmy wzruszenia i ironii wstrząsały nim na przemian.

— Mój Boże, ja nie wiem, czy pani odczuwa te rzeczy tak jak ja. Swann dostałby po prostu konwulsji, gdyby to widział. To wiem, że jaką bądź cenę uzyskalby ten wachlarz, kupię go na licytacji po królowej. Bo ją zlicytują, nie ma ani grosza — dodał, ile że okrutna złośliwość nigdy nie przestawała się łączyć u barona z najszczerzą czcią, obie bowiem płynęły z dwóch natur sprzecznych, ale kojarzących się w nim. Mogły nawet oświeć na przemian jeden i ten sam fakt. Bo pan de Charlus, który z wyżyn swoich bogactw dworował sobie z ubóstwa królowej, często znowuż rozplywał się nad tym ubóstwem i, kiedy mówiono o księżnej Murat<sup>1250</sup>, królowej Obojga Sycylii, odpowiadał: „Nie wiem, o kim pan mówi. Jest tylko jedna królowa Neapolu<sup>1251</sup>, która jest wspaniała, choć nie ma powozu. Ale ze swego omnibusu gasi wszystkie ekwipaże<sup>1252</sup> i padłoby się na kolana w proch, widząc ją przejeżdżającą”.

— Zapiszę ten wachlarz do muzeum — ciągnął. — Na razie trzeba go będzie jej odwiedzić, żeby się nie musiała rujnować na fiakra, posyłając po to. Najinteligentniejsze, zważywszy historyczną wartość przedmiotu, byłoby skraść ten wachlarz. Ale to by jej zrobiło różnicę, bo wielce prawdopodobne jest, że nie ma innego! — dodał, parszkając śmiechem. — Słowem, widzi pani, że dla mnie przyszła. I nie jest to jedyny cud, jaki sprawiłem. Nie sądzę, aby ktokolwiek dziś miał moc poruszenia ludzi, których ja ściągnąłem. Zresztą trzeba każdemu oddać co mu się należy: Charlie i inni grali jak bogowie. I pani, droga gosposiu — dodał łaskawie — miała pani swoją cząstkę w tej fecie. Pani nazwisko nie będzie jej obce. Historia zapamiętała imię pafia, który uzbroidł Joannę d'Arc, kiedy szła walczyć; w sumie posłużyła pani jako łącznik, ułatwiła pani fuzję między muzyką Vinteuila a jego genialnym wykonawcą; miała pani ten zmysł, aby zrozumieć kapitalną wagę całego łańcucha okoliczności, który miał pozwolić wykonawcy skorzystać z autorytetu człowieka możnego (gdyby nie chodziło o mnie, powiedziałbym: opatrnościowego), do którego tak mądrze zwróciła się pani z prośbą o zapewnienie prestiżu temu zebraniu, o dostarczenie skrzypcom Morela uszu bezpośrednio połączonych z najautorytatywniejszymi językami; nie, nie, to nie jest nic! Nie ma żadnego „nic” w tak doskonałej

<sup>1247</sup>Jeżeli Vinteuil jest Mahometem (...) poruszyliśmy dla niego najmniej ruchome z gór — nawiązanie do przysłowia znanego również we Francji: [Skoro] nie przyszła góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry. [przypis edytorski]

<sup>1248</sup>admiracja (z łac.) — podziw, uwielbienie. [przypis edytorski]

<sup>1249</sup>Wachlarz, który (...) który pani de Metternich złamała, kiedy wygwizdano Wagnera — paryska premiera opery *Tannhäuser* Wagnera (13 marca 1861) spotkała się z sykami i gwizdami; obecna na przedstawieniu słynna z urody i elegancji bywalczyni salonów Wiednia i Paryża, propagatorka muzyki Wagnera, księżniczka Paulina von Metternich, wściekła na reakcję publiczności, uderzyła wachlarzem o balustradę łoża z taką siłą, że go złamała. [przypis edytorski]

<sup>1250</sup>księżna Murat — potomkini napoleońskiego marszałka Joachima Murata i Karoliny Bonaparte, najmłodszej siostry Napoleona I; Napoleon I Bonaparte w 1808 nadał Joachimowi Muratowi królestwo Neapolu (z formalnym tytułem króla Neapolu i Sycylii, mimo że nie kontrolował Sycylii); zostało ono utracone w 1815, wraz ze śmiercią Murata, na rzecz jego rywala, Ferdynanda I Burbona, pierwszego z dynastii Burbonów Sycylijskich, rządzących zjednoczonym Królestwem Obojga Sycylii (tj. Sycylii i Neapolu) aż do jego włączenia do zjednoczonych Włoch (1861); potomkowie Murata zaliczani są do najwyższej arystokracji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>1251</sup>królowa Neapolu — Maria Zofia Bawarska (1841–1925), bawarska księżniczka, żona Franciszka II, ostatniego króla (od 1859) Królestwa Obojga Sycylii, włączonego w 1861 do Królestwa Włoch. [przypis edytorski]

<sup>1252</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, luksusowy pojazd konny. [przypis edytorski]



realizacji. Wszystko się tu łączy. Stara Duras była bajeczna. Słowem, wszystko; i dlatego — zakończył baron, bo lubił karcieć — nie pozwoliłem pani zaprosić figur wnoszących rozdźwięk; te figury, wobec decydujących osób, które ja tu ściągnąłem, grałyby rolę przecinków w cyfrze<sup>1253</sup>, sprowadzając inne do roli prostych dziesiętnych. Mam bardzo ściśle poczucie takich rzeczy. Rozumie pani, trzeba unikać gaf, kiedy wydajemy uroczystość, która ma być godna Vinteuila, jego genialnego odtwórcy, pani i — śmiem powiedzieć — mnie. Wystarczyłoby, żeby pani zaprosiła taką Molé, a wszystko byłoby spaćkane. To byłaby kropelka neutralizująca, sprawiająca, że lek nie działa. Elektryczność byłaby zgasała, ptifury nie przyszłyby na czas, oranżada przyprawiłaby wszystkich o biegunkę. To była osoba przeciwwskazana. Na samo jej nazwisko, jak w feerii, mosiądz nie wydałby żadnego dźwięku, flet i klarnet ochrypiłyby nagle. Sam Morel, gdyby nawet zdołał wziąć kilka tonów, nie utrzymałby się w takcie i w miejscu septetu Vinteuila miałyby pani jego parodię *à la Beckmesser*<sup>1254</sup>, kończącą się pośród gwizdów. Ja, który bardzo wierzę we fluidy osób, wybornie odczułem w rozkwicie pewnego *largo*<sup>1255</sup>, otwierającego się jak kwiat, w pełni szczęśliwego finału, który był nie tylko radosny, ale nieporównanie radosny, że nieobecność pani Molé pobudzała muzyków i wzdymała radością nawet instrumenty. Zresztą w dniu, kiedy się przyjmuje monarchów, nie zaprasza się stróżki.

Nazywając ją — jak aktorkę — „la Molé”<sup>1256</sup> (jak mówił zresztą z całą sympatią „la Duras”), pan de Charlus oddawał owej damie sprawiedliwość. Bo wszystkie te kobiety to były światowe aktorki. Zarazem faktem jest, że nawet z tego punktu widzenia hrabina Molé nie dorównywała reputacji intelektualnej, jaką jej robiono, co przywodziło na myśl owych miernych aktorów lub powieściopisarzy, którzy w pewnych epokach odgrywają rolę geniuszów dzięki mierności kolegów, wśród których nie ma wielkiego artysty, zdolnego pokazać, co jest prawdziwy talent, lub dzięki lichemu smakowi publiczności, która, choćby nawet znalazła się wspaniała indywidualność, nie umiała jej zrozumieć i ocenić. Co się tyczy pani Molé, lepiej zostać przy pierwszym wytłumaczeniu, mimo iż nie jest całkiem ściśle. Ponieważ „świat” jest królestwem nicości, między wartościami światowych dam istnieją jedynie nieznaczne stopnie, wzrastające obłądnie jedynie od uraz lub urojen pan de Charlus. I z pewnością, jeżeli baron mówił tak w owym języku będącym pretensjonalną mieszaniną rzeczy świata i sztuki, to dlatego, że jego babskie gniewy i kultura światowca dostarczały prawdziwej wymowie pana de Charlus jedynie błahych tematów. Ponieważ świat różnic nie istnieje na powierzchni ziemi, w żadnej z krain ujednostajnionych naszym poznaniem, tym bardziej nie istnieje on w „świecie”. Czy istnieje zresztą gdziekolwiek? Septet Vinteuila zdawał się mówić, że tak. Ale gdzie?

Ponieważ pan de Charlus lubił także powtarzać coś jednemu o drugim, starając się ludzi skłócić, dzielić, aby panować, dodał:

— Nie zapraszając jejmość pani Molé, odebrała jej pani sposobność do mówienia: „Nie wiem, czemu ta Verdurin mnie zaprosiła. Nie wiem, co to są za figury, nie znam ich”. Powiedziała już w zeszłym roku, że ją pani nuży swoim nadskakiwaniem. To gęś, niech jej już pani nie zaprasza. W sumie ta damulka to nic nadzwyczajnego. Może bywać u pani, nie robiąc ceregieli, skoro ja bywam. W rezultacie — zakończył baron — sądzę, że mi pani może podziękować; tak jak było, było doskonale. Oriana de Guermantes nie przysłała, ale nie wiadomo, może to i lepiej. Nie będziemy mieli do niej pretensji; i tak pomyślimy o niej na drugi raz, zresztą nie można o niej nie pamiętać, same jej oczy mówią nam: „Nie zapominaj o mnie, bo to są dwie niezapominajki”.

A ja myślałem mimo woli, jak bardzo „duch Guermantów” — kaprys pójścia lub niepójścia do kogoś — był mocny, skoro przeważał u księżnej obawę przed Palamedem.

<sup>1253</sup>*cyfra* (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

<sup>1254</sup>*à la Beckmesser* (fr.) — w stylu Beckmessera; *Beckmesser*: postać z opery Wagnera *Śpiewacy norymberscy* (1868): pedantyczny pisarz miejski, który staje do rywalizacji w konkursie śpiewaczym o rękę córki złotnika, krytykuje błędy w nowatorskim śpiewie konkurenta, ale później w swojej serenadzie sam popełnia szereg rażących błędów. [przypis edytorski]

<sup>1255</sup>*largo* (wł.: szeroko; muz.) — tempo bardzo wolne; także: utwór lub część wykonywana w takim tempie. [przypis edytorski]

<sup>1256</sup>*la Molé* (fr.) — ta Molé; w języku francuskim rodzajnikiem określonym *la* poprzedza się rzeczowniki określające osoby lub przedmioty już znane, w szczególności te, które są jedyne w swoim rodzaju. [przypis edytorski]

— Wobec takiego sukcesu — ciągnął — jest się skłonnym, jak Bernardin de Saint-Pierre<sup>1257</sup>, wszędzie widzieć rękę Opatrzności. Księżna de Duras była zachwycona. Poleciała mi nawet powiedzieć to pani — dodał pan de Charlus z naciskiem, tak jakby pani Verdurin miała to uznać za wystarczający zaszczyt. Wystarczający a nawet trudny do uwierzenia, bo baron uważał za potrzebne dodać: „Ależ tak!”, uniesiony szaleństwem ludzi, których Jowisz chce zgubić. — Zaprosiła Morela do siebie, gdzie ma być ten sam program; zamierzam nawet poprosić o zaproszenie dla pana Verdurin.

Ta grzeczność dla samego męża była, czego pan de Charlus zupełnie nie odczuwał, najkrwawszą zniewagą dla małżonki, która czując się w prawie (na zasadzie rodzaju „dekretu moskiewskiego Komedii Francuskiej” obowiązującego w jej „klanie”) zabronić grania gdziekolwiek bez jej wyraźnego zezwolenia, zdecydowana była zakazać Morelowi udziału w wieczorze księżnej de Duras.

Rozprawiając z taką swadą, pan de Charlus już tym samym drażnił panią Verdurin, która nie lubiła żadnych wyłomów w swojej „paczce”. Ileż razy, już w La Raspelière, słysząc jak pan de Charlus, zamiast poprzestać na swoim udziale w harmonijnym zespole „klanu”, wciąż rozmawia z Morelem, wykrzyknęła, pokazując barona: „Ależ ten się dolewa! Ależ się dolewa!”. Ale tym razem to było o wiele gorzej. Upojony własnymi słowami, pan de Charlus nie rozumiał, że uszczuplając rolę pani Verdurin i zakreślając jej ciasne granice, rozpętywał uczucie nienawiści, które było u niej jedynie swoistą formą, socjalną formą zawiści. Pani Verdurin naprawdę lubiła swoich stałych gości, swoich „wiernych”, chciała, aby byli całkowicie oddani swojej „pryncypalce”. Robiąc pewne ustępstwa, jak owi zazdrośnicy, którzy pozwalają, aby ich oszukiwano, ale pod ich dachem, a nawet w ich oczach (to znaczy, aby ich nie oszukiwano), pozwalała mężczyznom mieć kochankę, nawet kochanka, pod warunkiem, żeby to wszystko nie wychodziło poza jej dom, żeby się zawiązywało i trwało w cieniu „śród”. Ukradkowe chichoty Odety ze Swannem kąsały niegdyś jej serce, jak od pewnego czasu *aparté*<sup>1258</sup> barona z Morelem; w troskach swoich znajdowała tylko jedną pociechę, mianowicie niweczyć szczęście drugich. Nie mogłaby długo znieść szczęścia barona. I oto ten, niebaczny, przyspieszał katastrofę, chcąc najwyraźniej uszczuplić miejsce „pryncypalki” w jej „klanie”! Już widziała Morela bywającego w świecie bez niej pod egidą barona. Było na to tylko jedno lekarstwo: kazać skrzypkowi wybierać między baronem a nią i korzystając ze swego wpływu na Morela, dowieść mu nadzwyczajnej przenikliwości dzięki raportom, które pani Verdurin kazała sobie sporządzać, i dzięki kłamstwom, które wymyślała. I jedno, i drugie miało wpłynąć na poparcie tego, w co sam Morel skłonny był wierzyć i o czym miał się dowodnie przekonać dzięki pułapkom, które pani Verdurin umiała zastawiać i w które naiwni wpadali: w ten sposób zamierzała osiągnąć to, żeby wybrał raczej ją niż barona. Co się tyczy światowych dam, które będąc w jej domu, nawet nie raczyły się przedstawić, pani Verdurin, zrozumiawszy ich wahania lub ich bezceremonialność, rzekła:

— Och, już ja widzę, co to za gatunek; te stare zdziury to nie nasz interes, oglądają ten salon ostatni raz.

Bo raczej by umarła, niżby przyznała, że ktoś był dla niej nie dość uprzejmy.

— Ach, drogi generale — wykrzyknął nagle pan de Charlus, spostrzegłszy generała Deltour, sekretarza przy prezydenturze Republiki, który mógł mieć wielki wpływ na krzyż Legii dla Morela i który, zasięgnąwszy porady u Cottarda, wymykał się szybko: — Dobry wieczór, drogi i kochany przyjacielu! I co, w ten sposób pan się ulatnia, nie pożegnawszy się ze mną? — rzekł baron z dobrodusznym i pewnym siebie uśmiechem, bo wiedział, że zawsze każdy chętnie porozmawia z nim chwilę dłużej. Że zaś w tym stanie podniecenia sam zadawał dyszkantem pytania i sam na nie odpowiadał, baron ciągnął: — No i co, jest pan zadowolony? Nieprawdaż, to było bardzo piękne? Andante, co? Nikt nie napisał czegoś bardziej wzruszającego. Pytam się, czy ktoś potrafi wysłuchać tego bez łez. Kochany pan jest, że pan przyszedł, generale. Niech pan powie, dostałem dziś rano przemiły telegram od Froberville'a, który mi oznajmia, że trudności ze strony WielkiegoKancelerstwa są, jak się to mówi, wyrównane. — Głos pana de Charlus wznosił się dalej, równie ostry, równie odmienny od jego zwykłego głosu, jak głos przemawiającego z emfazą adwokata różni

<sup>1257</sup> Bernardin de Saint-Pierre, Jacques Henri (1737–1814) — francuski pisarz, podróżnik, przyrodnik, uczeń i przyjaciel Jana Jakuba Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>1258</sup> *aparté* (fr.) — rozmowa na stronie, sam na sam. [przypis edytorski]

się od codziennej dykcji: wokalny objaw nerwowej euforii, z rodzaju tej, która w czasie obiadów księżnej wzbijała tak wysoko diapazon<sup>1259</sup> głosu i spojrzenia pani de Guermantes.

— Miałem zamiar przesłać panu jutro słówko przez żołnierza, aby wyrazić mój entuzjazm, zanim miałbym go sposobność wysłowić osobiście, bo pan był taki otoczony! Poparcie Froberville'a jest nie do pogardzenia, ale ja ze swej strony mam przyrzeczenie ministra — rzekł generał.

— A, cudownie! Zresztą widział pan, podobny talent zasługuje chyba na to. Hoyos był zachwycony; nie mogłem mówić z ambasadorową, czy była kontenta? Ale któż by nie był, z wyjątkiem tych, co mają uszy do niesłyszenia, co nic nie szkodzi zresztą, z chwilą gdy mają języki do gadania.

Korzystając z tego, że baron oddalił się nieco z generałem, pani Verdurin dała znak Brichotowi. Nie wiedząc, co mu pani Verdurin powie, profesor chciał ją bawić i nie domyślając się, jakie mi zadaje cierpienie, rzekł:

— Baron jest uszczęśliwiony, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka nie przyjechały. One go straszliwie gorszą. Oświadczył, że ich obyczaje są wprost skandaliczne. Nie wyobraża sobie pani, jaki baron jest wstydlivy i surowy na punkcie obyczajów.

Wbrew oczekiwaniu Brichota pani Verdurin nie uśmiechnęła się.

— Potworny jest — rzekła. — Niech go pan wyciągnie na papierosa, żeby mąż mógł zabrać bez wiedzy Charlusa jego Dulcyneę<sup>1260</sup> i żeby mógł oświecić tego chłopca, w jaką przepaść się stacza.

Brichot wahał się nieco.

— Powiem panu — rzekła pani Verdurin, aby usunąć ostatnie skrupuły profesora — że ja się z tym paskudztwem nie czuję bezpieczna w domu. Wiem, że on miał brzydkie historie i że policja ma go na oku.

Ze zaś pani Verdurin miała niejaki dar improwizacji, kiedy złość była jej natchnieniem, nie poprzestała na tym:

— Zdaje się — ciągnęła — że on już siedział. Tak, tak, mówiły mi to osoby dobrze poinformowane. Wiem zresztą przez kogoś, kto mieszka na tej ulicy co on, że nie ma się pojęcia, co za bandytów ten baron sprowadza do siebie.

A gdy Brichot, który często bywał u barona, protestował, pani Verdurin wykrzyknęła namiętnie:

— Ależ skoro ja ręczę za to! Skoro ja panu powiadam! — zwrot, którym starała się zazwyczaj podeprzeć twierdzenie rzucone trochę na oślep. — Zginie zamordowany dziś lub jutro, jak zresztą wszyscy mu podobni. Nie doczeka może nawet tego, bo jest w łapach niejakiego Jupiena, którego miał bezczelność mi przysłać, a który jest eks-galernikiem, wiem o tym, słyszy pan, tak, zupełnie pozytywnie. Trzyma Charlusa przez listy, które mają być czymś przerażającym. Wiem to od kogoś, kto je czytał; powiedział mi: „Słabo by się pani zrobiło, gdyby pani to ujrzała”. W ten sposób Jupien ma go w garści i wyciska z niego pieniędzy, ile zechce. Wolałabym tysiąc razy śmierć niż żyć pod takim strachem, w jakim żyje Charlus. W każdym razie, jeżeli rodzina Morela zdecyduje się wnieść przeciw niemu skargę, nie mam ochoty być oskarżona o współnictwo. Jeżeli Morel chce żyć tak daleko, niech się to dzieje na jego ryzyko, ja spełnię swój obowiązek. Cóż pan chce! To nie zawsze jest wesołe.

I już mile podniecona oczekiwaniem rozmowy, jaką mąż miał odbyć ze skrzypkiem, pani Verdurin rzekła do mnie:

— Niech się pan spyta Brichota, czy ja nie jestem dzielna przyjaciółka i czy się nie umiem poświęcać, aby ratować kamratów. — Robiła aluzję do okoliczności, w których w samą porę poróżniła profesora najpierw z jego praczką, potem z panią de Cambremer, z których to perypetii Brichot wyszedł prawie całkiem ślepym i jak mówiono, morfinistą.

— Przyjaciółka nieporównana, przenikliwa i dzielna — odparł uczony z naiwnym wzruszeniem. — Pani Verdurin nie dała mi zrobić wielkiego głupstwa — rzekł Brichot, kiedy „pryncypałka” odeszła. — Nie waha się ciąć w żywe ciało. Jest radykalistką, jak powiada nasz Cottard. Przyznaję jednak, iż myśl, że biedny baronek nie zna jeszcze ciosu, który go ma ugodzić, sprawia mi wielką przykrość. On po prostu oszalał dla tego chłopca.

<sup>1259</sup> *diapazon* — skala, rozpiętość głosu. [przypis edytorski]

<sup>1260</sup> *Dulcynea* — ukochana Don Kichota, wyimaginowana księżniczka, w rzeczywistości wiejska dziewczyna o imieniu Aldona Lorenzo. [przypis edytorski]

Jeśli się pani Verdurin powiedzie, ten człowiek będzie bardzo nieszczęśliwy. Nie jest zresztą pewne, czy się jej uda. Obawiam się, że potrafi jedynie zasiać nieporozumienie, które w końcu, nie rozdzielając barona z Morelem, poróżni ich obu z nią samą.

To zdarzało się często z panią Verdurin i „wiernymi”. Ale widoczne było, że nad potrzebą zachowania przyjaźni „wiernych” coraz bardziej dominowała w niej potrzeba, żeby tej przyjaźni nie zagrażała wzajemna ich przyjaźń między sobą. Homoseksualizm nie raził pani Verdurin, póki nie tykał prawowierności; ale jak Kościół, tak i pani Verdurin wolała wszystkie ofiary od ustępstw na punkcie prawowierności. Zaczynałem się obawiać, iż jej irytacja na mnie może pochodzić stąd, że ja nie pozwoliłem Albertynie wybrać się do niej tego dnia; bałem się również, żeby nie podjęła później na Albertynie (o ile się to już nie zaczęło) tej samej operacji celem rozdzielenia jej ze mną, jaką jej mąż miał podjąć na muzyku odnośnie do Charlusa.

— Nie, niech pan wyciągnie Charlusa, niech pan znajdzie jakiś pretekst, już czas — rzekła pani Verdurin — a zwłaszcza niech mu pan nie da wracać, zanim po was poślę. A! Co za wieczór — dodała pani Verdurin, zdradzając tym prawdziwą przyczynę swojej wściekłości. — Produkować arcydzieło wobec tych tłumoków. Nie mówię o królowej Neapolu, ta jest inteligentna i miła kobieta — czytaj: „była miła dla mnie”. — Ale inne! Och, to się można wścieć! Cóż chcecie, nie mam już dwudziestu lat. Kiedy byłam młoda, mówiono mi, że trzeba się umieć nudzić; przymuszałam się, ale teraz, och, nie, to ponad moje siły; jestem w tym wieku, żeby robić to, co chcę, życie jest za krótkie; nudzić się, żyć z głupcami, robić minę, że się ich ma za inteligentnych, och, nie, nie mogę. No, prędzej, Brichot, nie ma czasu do stracenia.

— Idę, idę — rzekł w końcu Brichot, gdy generał Deltour się oddalał.

Ale najpierw uczony wziął mnie na chwilę na bok.

— Obowiązek moralny — rzekł — jest mniej jasnym imperatywem, niż tego uczył nasi etycy. Niech się z tym pogodzą kawiarnie teozoficzne<sup>1261</sup> i piwiarnie kantowskie: rozpaczliwie nie znamy istoty Dobra. Ja sam, który, bez przechwałki, skomentowałem dla swoich uczniów, w świętej niewinności, filozofię rzeczonoego Imanuela Kanta<sup>1262</sup>, nie widzę żadnego ścisłego wskazania na *casus*<sup>1263</sup> światowej kazuistyki<sup>1264</sup>, wobec którego się znajduję, w tej *Krytyce praktycznego rozumu*, w której wielki renegat protestantyzmu platonizował germańską modą dla prehistorycznie sentymentalnych i aulicznych<sup>1265</sup> Niemiec, w rezultacie *ad usum*<sup>1266</sup> pomorskiego mistycyzmu. To jeszcze wciąż platońska *Uczta*, ale tym razem z Koenigsbergu, z tamtejszą niestrawną kuchnią, z kapustą, a bez żigolaków. Z jednej strony oczywiście jest, że nie mogę odmówić naszej przezacnej gospodyni tej drobnej przysługi; przysługi całkowicie zresztą zgodnej z tradycyjną moralnością. Przede wszystkim trzeba unikać mamienia się słowami, bo mało jest rzeczy, które by więcej płodziły głupstw. Ale wreszcie powiedzmy szczerze, że gdyby matki rodzin miały prawo głosowania, baronowi groziłoby nieuchronnie to, że byłby zbalotowany<sup>1267</sup> jako nauczyciel cnoty. Na nieszczęście, on idzie ze swoim powołaniem pedagoga z temperamentem rozpustnika; zważ pan, ja nie mówię nic złego o baronie; ten luby człowiek,

<sup>1261</sup>*teozofia* (z gr. *theos*: bóg i *sophia*: mądrość) — światopogląd łączący w sobie różne idee wywodzące się z neoplatonizmu i buddyzmu: wiarę w bezosobowy, wieczny Absolut, kosmos będący jego emanacją, we wszechobecną świadomość (panteizm), w karmę (odpowiedzialność każdej istoty za własne czyny, których skutki oddziałują na następne wcielenie), reinkarnację (drogę wcieleni duszy od stadiów roślinnych, poprzez zwierzęce do ludzkiego), ewolucję wszechświata, w tym również ludzi, w kierunku doskonałości i zjednoczenia z absolutem. Takie poglądy religijno-filozoficzne propagowało założone w 1875 r. w Nowym Yorku przez Helenę Bławatską Towarzystwo Teozoficzne. [przypis edytorski]

<sup>1262</sup>*Kant, Immanuel* (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czolowa postać nowożytnej filozofii, profesor logiki i metafizyki na uniwersytecie w Królewcu (Koenigsbergu). Tu mowa o tzw. imperatywie kategorycznym, sformułowanej przez niego naczelnej, uniwersalnej bez względu na wiarę lub niewiarę zasadzie etycznej: „Postępuj zawsze tylko według takich zasad, co do których chciałbyś, aby były prawem powszechnym”. Kant zaproponował ją w dziele *Uzasadnienie metafizyki moralności* (1785) i rozwinął w *Krytyce praktycznego rozumu* (1788). [przypis edytorski]

<sup>1263</sup>*casus* (łac.) — przypadek. [przypis edytorski]

<sup>1264</sup>*kazuistyka* — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne. [przypis edytorski]

<sup>1265</sup>*auliczny* (daw., rzad.) — dworski. [przypis edytorski]

<sup>1266</sup>*ad usum* (łac.) — na użytek. [przypis edytorski]

<sup>1267</sup>*balotować* (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek; *zbalotowany*: odrzucony w wyniku tajnego głosowania. [przypis edytorski]

który umie krajać pieczone jak nikt, posiada obok geniuszu anatemy<sup>1268</sup> skarby dobroci. Umie być zabawny jak pajac wysokiej klasy, podczas gdy z niejednym z kolegów-akademików, z przeproszeniem, nudzę się, jakby powiedział Ksenofont<sup>1269</sup>, po sto drachm<sup>1270</sup> za godzinę. Ale boję się, że on wydaje na Morela nieco więcej tych drachm, niż zdrowa moralność zaleca. Nawet nie wiedząc ściśle, w jakiej mierze młody penitent okazuje się powolny lub oporny specjalnym ćwiczeniom, jakimi go chce umartwić jego katecheta, nie potrzeba być wielkim duchownym, aby wiedzieć, że grzeszylibyśmy, jak powiadają, zbytnią łagodnością w stosunku do tego różokrzyżowca<sup>1271</sup> (który wie się pono od Petroniusza via Saint-Simon), gdybyśmy mu z zamkniętymi oczami udzielili po formie<sup>1272</sup> zezwolenia na satanizowanie do woli. Pani Verdurin, dla dobra grzesznika i słusznie płonąca żądzą dokonania kuracji, zamierza, uświadamiając bez ogródek młodego narwańca, odjąć baronkowi wszystko, co baronek kocha, zadać mu może ostateczny cios. Otóż zabawiając tego człowieka, mam wrażenie, że go ściągam, jakby ktoś rzekł, w zasadzkę. I sam nie wiem czemu, wzdrygam się przed tym niby przed podłością.

To rzekłszy, profesor nie zawahał się popełnić tej podłości, biorąc barona pod ramię:

— No, baronie, chodźmy zapalić papierosa; nasz młody człowiek nie zna jeszcze wszystkich cudów tego przybytku.

Wymówiłem się, powiadając, że muszę wracać.

— Jeszcze chwilę — rzekł Brichot. — Ma mnie pan przecie odwiedzić, nie zapomniałem pańskiej obietnicy.

— Czy doprawdy nie chce pan, żebym kazał dla pana wyjąć srebra? Nie ma nic prostszego — rzekł do mnie pan de Charlus. — Ale, ale, pamięta pan, ani słowa Morelowi o sprawie Legii. Chcę mu zrobić niespodziankę, oznajmić mu to z chwilą, kiedy się goście trochę rozejdą. On powiada, że to nie jest ważne dla artysty, ale że jego wuj pragnie tego — Zaczerveniałem się, bo pomyślałem, że Verdurinowie wiedzą przez mojego dziadka, kim jest wuj Morela. — No, nie chce pan, żebym dla pana kazał wydobyć najpiękniejszą sztukę? — rzekł baron. — Zresztą zna je pan, widział je pan dziesięć razy w La Raspeliere.

Nie śmiałem rzec, że jeżeli coś mogłoby mnie interesować, to nie banalność mieszczkańskiego srebra, choćby najbogatszego, ale jakiś okaz, bodaj na pięknym sztychu, srebro pani du Barry<sup>1273</sup>. Byłem zanadto wzruszony, a choćbym nawet nie był przejęty rewelacją tyżącą przybycia panny Vinteuil, zawsze byłem w świecie o wiele zbyt roztargniony i podniecony, aby móc zwrócić uwagę na mniej lub więcej ładne przedmioty. Mogłoby tę uwagę przykuć jedynie wołanie jakiejś realności zwracającej się do mojej wyobraźni; mógłby to na przykład uczynić tego wieczora widok owej Wenecji, o której tyle myślałem po południu, lub jakiś ogólny współczynnik wspólny wielu zjawiskom, a prawdziwszy od nich, który sam z siebie zawsze budził we mnie wewnętrzny, a zazwyczaj uśpionego ducha, ale którego wyłonienie się na powierzchnię mojej świadomości sprawiało mi wielką radość. Otóż kiedy wychodziłem z salonu zwanego salą teatralną i mijałem z Brichotem oraz z panem de Charlus dalsze salony, odnajdując pośród innych niektóre meble oglądane obojętnie w La Raspeliere, spostrzegłem pomiędzy urządzeniem tego domu a urządzeniem posiadłości wiejskiej jakieś rodzinne powinowactwo, ciągłość. I zrozumiałem Brichota, który mówił z uśmiechem:

— O, widzi pan tę głąb salonu, to może bodaj panu dać pojęcie o salonie z ulicy Montalivet sprzed dwudziestu pięciu lat.

Z jego uśmiechu poświęconego zmarłemu salonowi, który oglądał w myśli, zrozumiałem, że tym, co Brichot, może nie zdając sobie z tego sprawy, cenił w dawnym salonie

<sup>1268</sup> *anatema* — oficjalne potępienie, klątwa, wykluczenie ze społeczności. [przypis edytorski]

<sup>1269</sup> *Ksenofont z Aten* (ok. 430–ok. 355 p.n.e.) — grecki pisarz i historyk, żołnierz najemny, uczeń Sokratesa. [przypis edytorski]

<sup>1270</sup> *drachma* — starożytna grecka moneta, na ogół srebrna. [przypis edytorski]

<sup>1271</sup> *różokrzyżowcy* — ruch duchowy i kulturowy powstały w Europie na pocz. XVII wieku, po opublikowaniu kilku tekstów, które ogłaszały istnienie tajnego bractwa, wtajemniczonego w wiedzę ezoteryczną; różokrzyżowcy działali we Francji, Niemczech i Anglii, nawiązywali do kabały, alchemii i chrześcijańskiego mistycyzmu; mieli znaczący wpływ na wolnomularstwo. [przypis edytorski]

<sup>1272</sup> *po formie* (daw. rusycyzm) — zgodnie z formą, tj. z przepisami lub z przyjętym sposobem zachowania się; przepisowo. [przypis edytorski]

<sup>1273</sup> *pani du Barry*, właśc. *Jeanne Becu*, *hrabina du Barry* (1743–1793) — francuska kurtyzana, metresa (oficjalna kochanka) króla Ludwika XV. [przypis edytorski]

— bardziej niż wielkie okna, niż wesołą młodość „pryncypałów” i ich „wiernych” — była owa nierealna część (którą ja sam wydobywałem z pewnych podobieństw między La Raspelière a Quai Conti), której część zewnętrzna, aktualna, dostępna kontroli wszystkich jest w salonie, jak we wszystkim, jedynie przedłużeniem; to była owa cząstka czysto duchowa, o kolorze istniejącym już tylko dla mego starego towarzysza, ta, której mi nie mógł pokazać; cząstka, która się oderwała od zewnętrznego świata, aby się schronić w naszą duszę, dając jej jakąś nadwartość; zasymilowana z jej zwykłą substancją, zmieniając się w niej — zburzone domy, dawni ludzie, kłosze z owocami przy kolacjach, które sobie przypominamy — w przezroczysty alabaster naszych wspomnień, którego koloru niezdolni jesteśmy oddać, który my jedni widzimy, co nam pozwala, mówiąc o minionych rzeczach, powiedzieć komuś szczerze, że nie może mieć o nich pojęcia, że to nie jest podobne do tego, co widział. I to sprawia, że nie możemy oglądać w sobie samych bez pewnego wzruszenia odbłasku lamp, które zgasły, i zapachu grządek, które już nie zakwitną. Wzrusza nas myśl, że jedynie od istnienia naszej pamięci zależy na jakiś czas jeszcze ich przetrwanie. I przez to niewątpliwie salon z ulicy Montalivet psuł w oczach Brichota obecną rezydencję Verdurinów. Ale z drugiej strony dawał jej w oczach profesora piękno, którego nie mogła mieć dla nowego przybysza. Niektóre stare meble, które ja sam pamiętałem z La Raspelière, wstawione tutaj, czasem ustawione w ten sam sposób, wcielały w obecnym salonie części dawnego, odtwarzając go chwilami aż do halucynacji; a potem zdawały się prawie nierealne, tak bardzo w otaczającej rzeczywistości wskrzeszały fragmenty zniweczonego świata, jak gdyby oglądanego już gdzie indziej. Wyłoniona z marzenia kanapa między nowymi i bardzo realnymi fotelami, krzeselka obite różowym jedwabiem, wzorzysta kapa na stoliku do gry wyniesionym do godności osoby, od czasu jak — niby osoba — miała przeszłość, pamięć, w zimnym cieniu Quai Conti zachowując ogorzałość od słońca jeszcze z ulicy Montalivet (słońca, którego godziny stolik ów znał równie dobrze jak sama pani Verdurin), i przez oszklone drzwi w Denville, dokąd go zawieszono i skąd patrzył cały dzień poprzez kwitnący ogród na głęboką dolinę, oczekując godziny, kiedy Cottard i flecista utną na nim partyjkę; bukiet fiołków i bratków malowany pastelami, dar wielkiego artysty i nieżyjącego już przyjaciela, jedyny pozostały fragment życia, które znikło, nie zostawiając śladów, fragment streszczający wielki talent i długą przyjaźń, przypominający jego uważne i łagodne spojrzenie, jego piękną pulchną i smutną rękę, w czasie gdy malował; chaotyczny i miły bezład podarków „wiernych”, które towarzysząc wszędzie pani domu, nabrały w końcu niemal właściwości charakteru, linii losu; obfitość bukietów, pudeł z czekoladkami, systematyzująca tu jak i tam swój rozkwit w identycznym porządku botanicznym; ciekawy chaos osobliwych i zbytecznych przedmiotów, dotąd robiących wrażenie, że wyszły z pudełka, w którym je ofiarowano, i pozostających całe życie tym, czym były zrazu: noworocznymi podarkami; słowem, wszystkie te przedmioty, których nie dałoby się odróżnić od innych, ale które dla Brichota, starego uczestnika zabaw u Verdurinów, miały ową patynę, ów połysk rzeczy, z którymi łączy się ich duchowy dublet, dając im rodzaj głębi; wszystko to kłębiło się dokoła niego i śpiewało mu niby dźwięczne klawisze, budzące w jego sercu drogie podobieństwa, mgliste wspomnienia, które w upstrzonym nimi obecnym salonie wycinały, obrysowywały meble i dywany, tak jak to robi w piękny dzień słoneczna rama tworząca wycinki światła w powietrzu, i ścigając pewną ideę od poduszki do wazonu, od taboretu do resztek jakiegoś zapachu, od pewnego sposobu oświetlenia do jakiejś przewagi kolorów, rzeźbiły, wywoływały, uduchowiały, powoływały do życia formę, która była niby idealną fizjonomią salonu Verdurinów wrośniętą w ich kolejne siedziby.

— Spróbujemy — szepnął Brichot — ściągnąć barona na jego ulubiony temat. Wspaniały jest wtedy.

Z jednej strony pragnąłem uzyskać od pana de Charlus wskazówki dotyczące panny Vinteuil i jej przyjaciółki; z drugiej nie chciałem zostawiać Albertyny zbyt długo samej. Nie dlatego, żeby mogła zrobić zły użytek w tej swobody (nie mogła wiedzieć, kiedy wróce, zresztą o tej porze wizyta u niej lub wyjście z domu byłyby zbyt rażące), ale żeby się jej moja nieobecność zbyt długo nie dłużyła. Toteż oświadczyłem profesorowi i panu de Charlus, że nie mam wiele czasu.

— Chodź pan i tak — rzekł pan de Charlus, już raczej przygaszony, ale czujący potrzebę przedłużania, przeciągania rozmowy. Ten sam rys zauważyłem już, tak samo

jak u barona, u księżnej Oriany; rys ów, szczególnie właściwy tej rodzinie, przejawia się na ogół u wszystkich tych, co wyżywając się intelektualnie jedynie w rozmowie, to znaczy wyżywając się niecałkowicie, czują się niezaspokojeni nawet po kilku godzinach spędzonych razem i coraz to chciwiej czepiają się wyczerpanego partnera, mylnie żądając od niego nasycenia, którego uciechy towarzyskie dać nie mogą.

— Chodź pan — dodał baron — to jest najprzyjemniejszy moment zabawy, chwila, kiedy goście poszli, moment donii Sol<sup>1274</sup>; miejmy nadzieję, że się zakończy mniej smutno. Szkoda, że pan się spieszy, prawdopodobnie do rzeczy, których lepiej by ci było nie robić. Wszyscy się dziś spieszą: ludzie odchodzą w momencie, gdy powinno by się przychodzić. Jesteśmy tu jak filozofowie Couture'a<sup>1275</sup>; to byłby moment na zrekapitulowanie wieczoru, na to, co w stylu wojskowym nazywa się krytyką operacji. Poprosiłoby się pani Verdurin, żeby nam tu kazała podać kolacyjkę, na którą postaralibyśmy się jej nie zaprosić, po czym Charlie — wciąż *Hernani!* — zagrałby dla nas samych boskie adagio<sup>1276</sup>. Jakież to cudowne, to adagio! Ale gdzie nasz młody skrzypek? Chciałbym mu przecie powinszować, to jest chwila rozczulen i uścisków. Przyznaj, profesorze, że grali jak bogowie, zwłaszcza Morel. Czy pan uważał chwilę, kiedy mu pukiel opada? Och! W takim razie, kochasiu, *nices*<sup>1277</sup> pan nie widział. Miał *fis*, od którego zdechliby z zazdrości Enesco, Capet i Thibaut<sup>1278</sup>; jestem człowiek spokojny, ale przy tym tonie serce mi się ścisnęło tak, że ledwo mogłem wstrzymać łkanie. Sala dygotała; Brichot, drogi Brichot — wykrzyknął baron, potrząsając gwałtownie uczonym — to było boskie. Jedynie młody Charlie był nieruchomy jak głaz; nie widziało się nawet, żeby oddychał; robił wrażenie, że jest jak owe rzeczy z nieożywionego świata, o których mówi Teodor Rousseau<sup>1279</sup>; które każą myśleć, ale nie myślą same. I naraz, nagle — wykrzyknął pan de Charlus z emfazą, zgrywając się jak w teatrze — naraz... pukiel! I przez ten czas, wdzięczny kontredans<sup>1280</sup>, *allegro vivace*<sup>1281</sup>. Wiesz pan, ten pukiel był niby znak objawienia, nawet dla najtępszych. Księżna Taorminy, głucha do tej chwili (bo nie ma ciężej głuchych, niż ci co mają uszy do niesłyszenia), księżna Taorminy wobec oczywistości cudownego pukla zrozumiała, że to jest muzyka i że nie będzie się grało w pokera. Och! To była chwila bardzo uroczysta.

— Daruje pan, że mu przerwę — rzekłem, aby sprowadzić pana de Charlus na przedmiot, który mnie zajmował — mówił pan, że córka autora miała przybyć. To by mnie bardzo interesowało. Czy pan jest pewien, że na nią liczono?

— Och! Nie wiem.

Pan de Charlus uległ tutaj, może bezwiednie, powszechnemu hasłu, które każe nie objaśniać zazdrośników, czy to aby się okazać idiotycznie „dobrym kolegą”, przez punkt honoru wobec tej, co budzi zazdrość (choćby się jej nie cierpiało), czy przez złośliwość wobec niej, odgadując, że zazdrość spotęgowałaby jedynie miłość, czy przez ową potrzebę robienia przykrości innym, polegającą na mówieniu prawdy wszystkim, ale na zamilczaniu jej zazdrośnikom (ile że niewiedza wzmaga ich męczarnie, a przynajmniej tak sobie wyobrażamy, w robieniu zaś przykrości innym kieruje się człowiek tym, co sam uważa, może mylnie, za najboleńsze).

— Wie pan — podjął baron — ten dom to jest po trosze świątynia przesady; przemili ludzie ci Verdurinowie, ale ostatecznie lubią zwabiać sławy takie czy inne. Ale pan mi jakoś nietęgo wygląda, zaziębi się pan jeszcze w tym wilgotnym pokoju — rzekł, podsuwając mi krzesło. — Skoro pan jest cierpiący, trzeba uważać, przyniosę panu futro. Nie, niech

<sup>1274</sup>*donia Sol* — postać z przelomowego w historii literatury francuskiej dramatu Wiktora Hugo *Hernani*: ukochana tytułowego bohatera, która razem z nim popełnia samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>1275</sup>*Couture, Thomas* (1815–1879) — francuski malarz, przedstawiciel akademizmu; znany szczególnie z obrazu *Rzymianie okresu upadku* (1847), który odniósł wielki sukces na wystawie w Salonie Paryskim. [przypis edytorski]

<sup>1276</sup>*adagio* — utwór muzyczny w powolnym tempie. [przypis edytorski]

<sup>1277</sup>*nices pan nie widział* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic pan nie widziałeś. [przypis edytorski]

<sup>1278</sup>*Enesco, Capet i Thibaut* — znani skrzypkowie; *Enesco* (fr.), właśc. *George Enescu* (1881–1955): rumuński kompozytor, skrzypek i dyrygent, uważany za największego muzyka w historii Rumunii; *Lucien Capet* (1873–1928): francuski skrzypek i kompozytor; *Jacques Thibaud* (1880–1953): francuski skrzypek. [przypis edytorski]

<sup>1279</sup>*Rousseau, Théodore* (1812–1867) — francuski malarz, autor malarstwa pejzażowego, zrywającego z akademicką tradycją pejzażu idealizowanego, inicjator i przywódca grupy tzw. *barbizończyków*. [przypis edytorski]

<sup>1280</sup>*kontredans* — figurowy taniec towarzyski popularny we Francji pod koniec XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>1281</sup>*allegro vivace* (muz.) — w tempie bardzo szybkim. [przypis edytorski]

pan sam nie idzie, zabląka się pan i gotów się pan zaziębić. Cóż za lekkomyślny człowiek, a nie ma pan przecie czterech lat, trzeba by panu starej niani jak ja, aby dbać o pana.

— Niech się pan nie deranżuje<sup>1282</sup>, baronie, ja pójdę — rzekł Brichot, który się natchmiast oddalił; nie zdając sobie może ściśle sprawy z bardzo żywej przyjaźni pana de Charlus dla mnie i z uroczych momentów serdeczności i prostoty, przegradzających jego oszalałe napady manii wielkości i manii prześladowczej, profesor bał się, że pan de Charlus, którego mu pani Verdurin powierzyła jako jeńca, zechce po prostu, pod pozorem mego palta, odszukać Morela i zniweczyć tym plan „pryncypałki”.

Tymczasem Ski usiadł do fortepianu, do którego nikt go nie zapraszał, i komponując sobie — za pomocą uśmiechniętego zmarszczenia brwi, spojrzenia w dal i lekkiego skrzywienia ust — wyraz, który uważał za „artystyczny”, nalegał na Morela, aby zagrał coś Bizeta<sup>1283</sup>.

— Jak to, pan nie lubi tego, tej łobuzerskiej strony muzyki Bizeta? Ależ, drogi panie — mówił Ski z owym grasejowaniem<sup>1284</sup> litery „r”, które mu było właściwe — to jest czarujące!

Morel, który nie lubił Bizeta, oznajmił to z przesadą, że zaś uchodził w „paczce”, rzecz doprawdy nie do wiary, za dowcipnego, Ski zaczął się śmiać, udając, że bierze okrzykiwanie się skrzypka za paradoks. Śmiech jego nie był, jak śmiech Verdurina, krztuszeniem się palacza. Ski przybierał najpierw sprytną minę, potem wydawał jakby mimo woli jeden ton, niby pierwszy dźwięk dzwonów; następowała cisza, w której filuterne spojrzenie rzeźbiarza zdawało się skrupulatnie badać zabawność tego, co ktoś powiedział; po czym wstrząsał powietrze drugi dzwon śmiechu, zmieniając się niebawem w wesołą sygnaturkę.

Wyraziłem panu de Charlus żal, że się Brichot trzusi.

— Ależ nie, on jest bardzo kontent, on pana bardzo kocha, wszyscy pana bardzo kochają. Mówiliśmy kiedyś o panu: „Nie widzi się go nigdzie, chowa się!”. Zresztą ten Brichot to taki zacny człowiek — ciągnął pan de Charlus, który widząc serdeczną szczerłość, z jaką się doń odnosił profesor Nauk Moralnych, nie domyślał się zapewne, że poza plecami Brichot używa sobie na nim. — To człowiek wielkiej wartości; mnóstwo wie, ale go to nie wysuszyło, nie zrobiło zeń szczura bibliotecznego jak tylu innych, których czuć atramentem. Zachował szerokość poglądów, tolerancję rzadką u jemu podobnych. Czasami widząc, jak on rozumie życie, jak umie każdemu oddać z wdziękiem, co mu się należy, człowiek myśli, gdzie taki zwykły belfrzyzna z Sorbony, eks-regent kolegium, mógł się tego wszystkiego nauczyć. Ja sam się dziwię.

Ja dziwiłem się bardziej, widząc, że rozmowa Brichota, który najmniej wybrednemu z gości Oriany wydałby się tak ciężki i głupi, przypadła do smaku najwybredniejszemu ze wszystkich, panu de Charlus. Ale nad tym rezultatem pracowały (obok innych wpływów, rozmaitych zresztą) wszystkie te, mocą których Swann z jednej strony tak długo czuł się dobrze w „paczce”, wówczas gdy był zakochany w Odecie, z drugiej zaś, ożeniwszy się, znajdował urok w pani Bontemps, która udając, że uwielbia państwa Swann, wysiadywała wciąż u pani, a rozkoszowała się anegdotami pana. Jak pisarz daje palmę inteligencji nie człowiekowi najinteligentniejszemu, ale *viveurowi* robiącemu śmiałą i wyrozumiałą uwagę o miłości — uwagę, która sprawia, że kochanka pisarza, sawantka<sup>1285</sup>, godzi się z nim, że ze wszystkich, co u niej bywają, najmniej głupi jest jeszcze ten stary elegant, mający doświadczenie w sprawach serca — tak samo pan de Charlus za inteligentniejszego od innych przyjaciół uważał Brichota, który był nie tylko uprzejmy dla Morela, ale zbierał w tym duchu w greckich filozofach, w łacińskich poetach, we wschodnich opowieściach teksty strojące skłonności barona egzotyczną i uroczą poezją. Pan de Charlus doszedł wieku, w którym Wiktor Hugo lubi się otaczać zwłaszcza panami Vacquerie i Meurice<sup>1286</sup>. Nad wszystko przekładał tych, którzy uznawali jego spojrzenie na życie.

<sup>1282</sup>*deranżować się* (daw., z fr.) — wytrącać się ze zwykłego trybu, przeszkadzać sobie, sprawiać sobie kłopot. [przypis edytorski]

<sup>1283</sup>*Bizet, Georges* (1838–1875) — francuski kompozytor, autor oper, muzyki symfonicznej i utworów fortepianowych; prekursor realizmu w operze XX w. [przypis edytorski]

<sup>1284</sup>*grasejowanie* — wymawianie głoski „r” z charakterystyczną wibracją języzka. [przypis edytorski]

<sup>1285</sup>*sawantka* (daw.) — kobieta wykształcona i wyemancypowana. [przypis edytorski]

<sup>1286</sup>*Vacquerie i Meurice* — oddani wielbicieli Wiktora Hugo, młodszy od niego o 16–17 lat: *Auguste Vacquerie* (1819–1895): dziennikarz i pisarz; *Paul Meurice* (1818–1905): powieściopisarz i dramaturg. [przypis edytorski]



— Widuję go często — dodał krzykliwym głosem, skandując wyrazy, przy czym żaden ruch warg nie ożywił jego poważnej i umęczonej maski, na którą z umysłu spuszczał swoje księżę powieki. — Chodzę na jego wykłady, atmosfera Quartier Latin<sup>1287</sup> odmładza mnie, jest tam młodzież pracowita, myśląca, młodzi mieszczenie inteligentniejsi, wykształceni niż niegdyś, w innym środowisku, moi koledzy. To jest inna sfera, którą pan prawdopodobnie zna lepiej ode mnie, to jest młoda burżuazja — rzekł, wybijając to słowo, poprzedzone kilkakrotnym „b”, i podkreślając je przez nawyk wymowy, odpowiadający dawnemu swoistemu rozmiłowaniu barona w odcieniach, ale może i dlatego, żeby nie pominąć okazji zrobienia mi małej impertynencji.

Nie zmieniło to zresztą w niczym serdecznego współczucia, jakie budził we mnie pan de Charlus (od czasu jak pani Verdurin zdradziła przy mnie swój zamiar); ubawiło mnie to jedynie, a nie byłoby mnie uraziło nawet w innej okoliczności, kiedy bym nie czuł tyle sympatii do barona. Odziedziczyłem po babce osobliwy brak miłości własnej w stopniu, który łatwo mógłby trącić brakiem godności. Bez wątpienia nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę; słysząc za czasów szkolnych od najbardziej cenionych kolegów, że nie ścierpieliby, aby im ktoś uchybił, nie przebaczyliby niegrzeczności, wyrobiłem sobie w końcu w słowach i w czynach drugą naturę dosyć dumną. Uchodziłem nawet za nadmiernie dumnego, ponieważ nie będąc wcale tchórzem, łatwo miewałem pojedynki, których moralny prestiż sam zmniejszałem, drwiąc z nich sobie, co łatwo przekonywało, że były śmieszne. Ale natura, którą dławimy, i tak w nas mieszka. Do tego stopnia, że czasem kiedy czytamy nowe arcydzieło genialnego człowieka, odnajdujemy w nim z przyjemnością wszystkie własne refleksje, którymiśmy gardzili, wesołości i smutki, któreśmy dławili, cały zlekceważony przez nas świat uczuć, którego wartość odsłania nam nagle książka, gdzie go odnajdujemy. Z doświadczeń życia nauczyłem się w końcu, że kiedy sobie ktoś drwi ze mnie, źle jest uśmiechać się przyjaźnie i nie mieć doń o to urazy. Ale ten brak miłości własnej i pretensji, mimo iż przestałem go wyrażać aż do zatury poczucia, że on we mnie istnieje, niemniej był pierwotnym elementem życiowym, w którym wzrosłem. Gniew i złość nawiedzały mnie w całkiem inny sposób, wściekłymi napadami. Co więcej, poczucie sprawiedliwości było mi obce — aż do zupełnego braku zmysłu moralnego. Byłem w głębi serca całkowicie po stronie tego, kto był słabszy i nieszczęśliwy. Nie miałem żadnego sądu o tym, w jakiej mierze stosunki Morela i pana de Charlus mogą być czymś złym lub dobrym; ale myśl o cierpieniach, jakie gotowano baronowi, była mi wręcz nieznośna. Byłbym go chciał ostrzec, nie wiedziałem jak to zrobić.

— Widok całego tego pracowitego światka bardzo ucieśny jest dla takiego starego pudła jak ja. Nie znam ich — dodał baron, zastrzegając się gestem, aby nie sprawiać wrażenia przechwałki, aby zaświadczyć o swojej czystości i nie podawać w wątpliwość czystości tych studentów — ale oni są bardzo uprzejmi, do tego stopnia, że czasem zatrzymują mi miejsce przez wzgląd na to, że jestem bardzo starym panem. Ale tak, drogi panie, niech pan nie przeczy, mam przeszło czterdzieści lat — rzekł baron, który przekroczył sześćdziesiątkę. — Trochę gorąco jest w sali, gdzie wyklada Brichot, ale to jest zawsze interesujące.

Mimo iż baron wołałby być wmieszany między młodzież szkolną, nawet popychany przez nią, czasem, aby mu oszczędzić długiego czekania, Brichot wprowadzał go z sobą. Jakkolwiek Brichot był w Sorbonie jak w domu, z chwilą gdy strojny łańcuchem pedel<sup>1288</sup> szedł przed nim i kiedy on sam, uwielbiany mistrz, posuwał się w ciżbie młodzieży, nie mógł opanować pewnej nieśmiałości i mimo iż pragnąc skorzystać ze swojej powagi, aby zrobić grzeczność baronowi, był bądź co bądź trochę zażenowany; chcąc, by pedel przepuścił barona, mówił do pana de Charlus sztucznym i zaferowanym tonem: „Idzie pan za mną, baronie, znajdziemy panu miejsce”; po czym, nie zajmując się nim dłużej, kroczył rażno korytarzem do sali. Z obu stron kłaniał mu się podwójny szpaler młodych profesorów; Brichot, nie chcąc, aby się wydawało, że pozuje dla tych młodych ludzi, w których

<sup>1287</sup> *Quartier Latin* (fr.), *Dzielnica Łacińska* — dzielnica uniwersytecka Paryża, położona na lewym brzegu Sekwany; nazwa pochodzi od łaciny, języka używanego powszechnie na uniwersytetach aż do czasów Rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>1288</sup> *pedel* (daw.) — woźny, szczególnie w różnym rodzaju szkołach i zakładach naukowych. [przypis edytorski]

oczach czuł się Wielkim Mogołem<sup>1289</sup>, przesyłał im tysiąc porozumiewawczych spojrzeń, życzliwych skinień, którym troska jego o to, aby zostać marsowym<sup>1290</sup> i dobrym Francuzem, dawała wygląd jakiejś kordialnej<sup>1291</sup> zachęty starego wiarusa, gdy powiada: „Kroćset bomb, potrafimy bić się do upadłego”. Potem wybuchały oklaski uczniów. W tym, że pan de Charlus zachodził na wykład, Brichot znajdował czasem sposobność sprawienia komuś przyjemności, uhonorowania kogoś. Powiadał na przykład jakiemuś krewniakowi lub któremuś z przyjaciół z miasta: „Gdyby to mogło zabawić pańską żonę lub córkę, uprzędam pana, że baron de Charlus, książę d’Agrigente, potomek Kondeuszów<sup>1292</sup>, będzie na moim wykładzie. To jest zawsze cenne wspomnienie widzieć jednego z ostatnich arystokratów, który zachował styl. Jeżeli panie zechcą przyjść, poznają go po tym, że będzie siedział obok mnie. Zresztą będzie tylko jeden taki, tęgi mężczyzna, siwe włosy, czarny wąs, medal wojskowy”.

„A, dziękuję panu” — powiadał ojciec. I aby nie urazić Brichota, mimo że żona była zajęta, wypędzał ją na ten wykład, podczas gdy młoda panna, zmęczona upałem i tłokiem, pożerała jednak oczami potomka Kondeuszów, dziwiąc się, że nie ma koronkowego kołnierza i że jest podobny do ludzi dzisiejszych. Ale baron nie spojrzął na nią; za to niejeden student, który nie wiedział, kto to taki, zdziwiony jego uprzejmością, stawał się ważny i sztywny, baron zaś wychodził rozmarzony i pełen melancholii.

— Niech pan daruje, że wracam do tego jeszcze raz — rzekłem spiesźnie do pana de Charlus, słysząc kroki Brichota — ale gdyby się pan dowiedział, że panna Vinteuil i jej przyjaciółka mają przybyć do Paryża, czy mógłby mnie pan uprzędzić, określając ściśle czas ich pobytu i nie mówiąc nikomu, żem pana o to prosił.

Nie sądziłem już, aby miała przybyć, ale chciałem się zabezpieczyć na przyszłość.

— Tak, zrobię to dla pana, choćby dlatego, że mam dla pana wielką wdzięczność. Nie przyjmując niegdyś tego, com panu proponował, oddał mi pan, ze swoją szkodą, olbrzymią przysługę: zostawił mi pan wolność. Prawda, że wyrzekłem się jej na inny sposób — dodał melancholijnym tonem, w którym przebijała chęć zwierzeń. — Jest w tym coś, co uważam zawsze za rodzaj *vis major*<sup>1293</sup>, zbieg okoliczności, który pan zaniedbałeś odwrócić na swoją korzyść, może dlatego, że los ostrzegł pana nieomylnie w owej godzinie, żebyś nie odwracał mojej drogi. Bo zawsze człowiek się miota, a Bóg go prowadzi. Kto wie, w dniu, kiedyśmy wyszli od pani de Villeparisis, gdybyś pan był przyjął, wiele rzeczy, które zaszły od tego czasu, nie stałyby się może nigdy.

Zakłopotany, odwróciłem rozmowę, chwytając się nazwiska pani de Villeparisis, i starałem się dowiedzieć od barona, tak kompetentnego w każdym względzie, dla jakich przyczyn arystokratyczny świat wyraźnie trzyma z daleka panią de Villeparisis. Baron nie tylko nie rozwiązał mi tego światowego problemu<sup>1294</sup>, ale jak gdyby go wręcz nie znał. Zrozumiałem wówczas, że o ile sytuacja pani de Villeparisis miała się później wydać wspaniała potomności, a nawet za życia margrabinie nieświadomemu mieszczaństwu, o tyle wydawała się nie mniej wielką — całkiem na innym krańcu, na tym, co stykał się z panią de Villeparisis — światu Guermantów. To była ich ciotka, widzieli w niej zwłaszcza urodzenie, parantele, mir zachowany w rodzinie przez wpływ na tę lub ową szwagierkę. Widzieli to nie tyle od strony świata, ile od strony rodziny. Otóż te dane były u pani de Villeparisis jeszcze świetniejsze, niż przypuszczałem. Wstrząsnęła mnie swego czasu wiadomość, że nazwisko Villeparisis jest fałszywe. Ale są inne przykłady wielkich dam, które popełniły mezalians, zachowując mimo to wpływowo stanowisko. Pan de Charlus rzekł mi na wstępie, że pani de Villeparisis była siostrzenicą słynnej księżnej de \*\*\*, osoby najslawniejszej wśród wielkiej arystokracji w czasie monarchii lipcowej<sup>1295</sup>, ale wzbraniającej

<sup>1289</sup> *Wielki Mogoł* — tytuł muzułmańskich władców pochodzenia turecko-mongolskiego, rządzących potężnym imperium w Indiach od XVI do XIX w. [przypis edytorski]

<sup>1290</sup> *marsowy* — tu: żołnierski; od imienia Marsa, rzymskiego boga wojny. [przypis edytorski]

<sup>1291</sup> *kordialny* (z łac.) — serdeczny. [przypis edytorski]

<sup>1292</sup> *Kondeusze* — francuski ród arystokratyczny, będący boczną linią dynastii Burbonów, odgrywający znaczącą rolę we Francji w XVI i XVII w. [przypis edytorski]

<sup>1293</sup> *vis major* (łac.) — siła wyższa. [przypis edytorski]

<sup>1294</sup> *problem* (daw.) — problem, zagadnienie do rozwiązania. [przypis edytorski]

<sup>1295</sup> *monarchia lipcowa* (1830–1848) — monarchia konstytucyjna we Francji za panowania króla Ludwika Filipa I, okres od obalenia Karola X przez rewolucję lipcową i ogłoszenia Ludwika Filipa królem Francuzów do rewolucji lutowej, która wprowadziła ustrój republikański. [przypis edytorski]

się utrzymywać stosunków z „królem-obywatelem” i jego rodziną. Tak byłbym pragnął słyszeć coś więcej o tej księżnej! A pani de Villeparisis, dobra pani de Villeparisis, której twarz była dla mnie twarzą zwykłej mieszczki, pani de Villeparisis, która mi przesyłała tyle podarków i którą tak łatwo mogłem widywać co dzień, pani de Villeparisis była jej siostrzenicą, wychowaną przez nią, w jej pałacu \*\*\*.

— Spytała księcia de Doudeauville — rzekł pan de Charlus — mówiąc o trzech siostrach: „Którą z trzech wolisz?”. A kiedy Doudeauville odpowiedział: „Panią de Villeparisis”, księżna de \*\*\* odpowiedziała: „Świnia!”. Bo księżna była bardzo dowcipna — rzekł pan de Charlus, dając słowu wagę i wymowę zwyczajną Guermantom.

Nie zdziwiłem się, że mu się to słówko wydało tak dowcipne, zważywszy w wielu okazjach ośrodkową, obiektywną skłonność ludzi, która każe im w ocenie czyjegós dowcipu abdykować z surowości, z jaką ocenialiby własny, oraz obserwować starannie, notować to, czego nie raczyliby stworzyć.

— Ależ co on wyprawia, przecież on przynosi moje paltó! — rzekł baron, widząc, że Brichot tak długo szukał z takim rezultatem. — Trzeba mi było iść samemu. Ostatecznie, niech pan je narzuci na ramiona. Czy wiesz, że to bardzo kompromitujące, moje dziecko: coś tak jak pić z jednej szklanki, będę znał pańskie myśli. Ale nie, nie tak, no, niech mi pan pozwoli — i narzucając mi swój paltot, obciskał mi nim ramiona, obciągał mi go koło szyi, podnosił kołnierz, przy czym ręka barona wśród przeproszeń muskała mi pobródek. — W tym wieku jeszcze nie umie przykryć się kołdrą, trzeba go opatulać, chybiłem powołania, Brichot, byłem stworzony na nianię.

Chciałem odejść, ale ponieważ pan de Charlus objawił chęć odszukania Morela, Brichot zatrzymał nas obu. Zresztą pewność, że w domu zastanę Albertynę, pewność równa tej, jaką miałem po południu, że wróci z Trocadéro, sprawiła, że w tej chwili równie mało tęskniłem do niej, jak mało odczuwałem tęsknoty tegoż dnia po telefonie Franciszki, siadając do fortepianu. I ilekroć w ciągu tej rozmowy chciałem wstać, ten spokój pozwolił mi poddać się protestom Brichota, który się bał, że moje odejście utrudni mu zatrzymanie barona aż do chwili, gdy pani Verdurin nas zawoła.

— No — rzekł do barona — niech pan trochę zostanie z nami, uściska go pan za chwilę — dodał Brichot, wlepiając we mnie martwe niemal oko, któremu operacje wróciły trochę życia, ale które nie było dość ruchliwe, aby popatrzeć złośliwie z ukosa.

— „Uściska”, jaki on głupi! — wykrzyknął baron piskliwym i rozanielonym tonem. — Wiesz, chłopcze, powiadam ci, jemu się zawsze zdaje, że jest na rozdawaniu nagród, marzy o swoich młodych uczniach. Zastanawiam się, czy on nie sypia z nimi.

— Chciałby pan widzieć pannę Vinteuil — rzekł do mnie Brichot, który usłyszał koniec naszej rozmowy. — Przyrzekam uprzedzić pana, kiedy przybędzie; będę wiedział o tym przez panią Verdurin — dodał profesor, bo przewidywał z pewnością, że baronowi mocno grozi doraźne wykluczenie z „paczki”.

— Ha! ha! Widzę, że pan mnie uważa za mniej bliskiego pani Verdurin — rzekł pan de Charlus — na to, aby mieć wiadomości o przybyciu tych osób o straszliwej reputacji. Pan wie, to jest powszechnie znane. Pani Verdurin źle robi, że je sprowadza; to dobre dla zakazanych kólek. One są w przyjaźni z całą potworną bandą. Wszystko to musi się zbierać w jakichś okropnych miejscach.

Za każdym słowem barona cierpienie moje, zmieniając formę, wzmagало się.

— Oczywiście nie, nie uważam, abym był bliżej od pana z panią Verdurin — wygłosił Brichot, cedząc słowa, bo zląkł się, że obudził podejrzenia barona. A że widział, iż ja się chcę żegnać, przeto chcąc mnie zatrzymać przynętą obiecaney rozrywki, dodał: — Jest rzecz, o której baron zdaje się nie pomyślał, mówiąc o reputacji tych dwóch dam, mianowicie, że reputacja może być zarazem i okropna, i niezasłużona. I tak na przykład, w sferze analogicznych, ale głośniejszych faktów notorycznych jest, że omyłki sądowe są liczne i że historia zarejestrowała oskarżenie o sodomie<sup>1296</sup>, piętnujące znamienitych ludzi, którzy byli jej zgoła niewinni. Świeże odkrycie wielkiej miłości Michała Anioła<sup>1297</sup> do

<sup>1296</sup>sodomia (daw.) — pejoratywne określenie zachowań homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>1297</sup>Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów epoki odrodzenia. W swoich sonetach opisywał m.in. swą miłość do Tommaso dei Cavalieri (ok. 1509–1587), wówczas 23-letniego młodzieńca. [przypis edytorski]

kobiety stanowi nowy fakt uprawniający tego przyjaciela Leona X<sup>1298</sup> do pośmiertnej rewizji procesu. Sprawa Michała Anioła ma wszelkie tytuły, aby roznamiętnić snobów i zmobilizować La Villette, kiedy zniknie z horyzontu inna sprawa, w której anarchia była rzeczą elegancką i stała się modnym grzeszkiem naszych zacnych pięknoduchów. Ale o tej nie godzi się mówić, można by się przy tym pokłócić.

Od czasu jak Brichot zaczął mówić o męskich reputacjach, pan de Charlus zdradzał całą twarzą ów specjalny rodzaj zniecierpliwienia, jaki objawia ekspert lekarski lub wojskowy, kiedy ludzie światowi zaczną pleść duby smalone na temat terapeutyki lub strategii bez żadnej znajomości przedmiotu.

— Nie ma pan najmniejszego pojęcia o tych rzeczach — rzekł w końcu. — Zacytuj mi pan jedną reputację fałszywą. Wymień pan nazwiska. Tak, ja znam wszystko — odparł gwałtownie pan de Charlus na nieśmiały sprzeciw Brichota. — Ludzi, którzy robili to kiedyś przez ciekawość lub przez kult zmarłego przyjaciela; znam i takich, co bojąc się zanadto zagalopować, kiedy pan im wspomni o piękności mężczyzny, odpowiedzą, że to jest dla nich po chińsku, że tak samo nie umieją rozróżnić mężczyzny pięknego od brzydkiego, jak nie umieją rozróżnić dwóch marek samochodu, nie znając się na automobilizmie. Wszystko to są błagi. Mój Boże, zauważ pan, nie twierdzą, aby reputacja zła (lub to, co przyjęto tak nazywać), a nieusprawiedliwiona była czymś absolutnie niemożliwym. Ale to jest tak wyjątkowe, tak rzadkie, że praktycznie nie istnieje. Bądź co bądź, ja, który jestem ciekawy, szperacz, znałem takie, i nie będące mitem. Tak, w ciągu mego życia stwierdziłem (mam na myśli: stwierdziłem naukowo, nie rzucam słów na wiatr) dwie reputacje nieusprawiedliwione. Powstają one zazwyczaj dzięki podobieństwu nazwisk lub z pewnych zewnętrznych oznak — na przykład obfitości pierścionków — oznak, które ludzie niekompetentni uważają za coś absolutnie charakterystycznego dla tego, o czym pan mówi, tak jak myślą, że chłop nie wymawia dwóch słów bez „wciurności” lub Anglik bez „*goddam*”<sup>1299</sup>. To jest gwara teatrzyków bulwarowych. Co pana zdziwi, to, że reputacje nieuzasadnione uchodzą w oczach publiczności za najpewniejsze. Pan sam, profesorze, gotów włożyć rękę w ogień za cnotę tego lub owego, który tu bywa, a którego poinformowani znają jak zły szeląg, wierzysz z pewnością, jak wszyscy, w to, co się mówi o kimś znanym, wcielającym te gusty dla masy, wówczas gdy nie ma ich ani za grosz. Mówię „za grosz”, bo gdybyśmy ofiarowali dwadzieścia pięć ludwików<sup>1300</sup>, ujrzelibyśmy, iż liczba tych świętych ludzi zmalałaby do zera. Bez tego taryfa świętych — jeżeli pan w tym widzi świętość — waha się na ogół między trzy a cztery na dziesięć.

O ile Brichot, mówiąc o „złej reputacji”, miał na myśli pleć męską, o tyle znowuż ja przerosłem słowa pana de Charlus na pleć żeńską, myśląc o Albertynie. Przeraziła mnie ta statystyka, nawet przyjąwszy, że baron musiał wyolbrzymiać cyfry w duchu swoich życzeń, a także wedle raportów plotkarzy, może kłamców, w każdym razie ludzi zmylnych własnym pragnieniem, które sumując się z pragnieniem pana de Charlus, fałszowało niewątpliwie cyfry.

— Trzy na dziesięć! — wykrzyknął Brichot. — Odwracając proporcję, jeszcze musiałbym pomnożyć przez sto liczbę winnych. Jeżeli jest taka, jak pan mówi, baronie, jeżeli się pan nie myli, nie ma co, jest pan jednym z rzadkich ludzi widzących prawdę, której nikt nie podejrzewał. W ten sposób Barrès<sup>1301</sup> poczynił w sferze korupcji parlamentarnej odkrycia, które sprawdziły się *ex post*, jak istnienie planety Le Verriera<sup>1302</sup>. Pani Verdurin zacytowałaby chętniej ludzi, których wolę nie wymieniać, a którzy odgadli w biurze wywiadowczym sztabu generalnego machinacje popełnione, jak sądzę, z patriotyzmu, ale

<sup>1298</sup> Leon X, właśc. *Giovanni di Lorenzo de' Medici* (1475–1521) — papież od 1513; młodszy syn władcy Florencji, Wawrzyńca Medyceusza, bliski współpracownik i następca Juliusza II; mecenas sztuki; ostatni papież niemający święceń kapłańskich w chwili wyboru; znany z wprowadzenia sprzedaży odpustów na odnowienie Bazyliki św. Piotra, co doprowadziło do wystąpienia Marcina Lutra (1517). [przypis edytorski]

<sup>1299</sup> *goddam* (ang.) — przekleństwo: cholera. [przypis edytorski]

<sup>1300</sup> ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>1301</sup> Barrès, *Maurice* (1862–1923) — francuski powieściopisarz, eseista, polityk i teoretyk nacjonalizmu; od 1889 członek Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

<sup>1302</sup> *Le Verrier, Urbain* (1811–1877) — francuski astronom i matematyk; w 1846 na podstawie matematycznej analizy perturbacji ruchu planety Uran przewidział istnienie nieznannej planety i obliczył parametry jej orbity, dzięki czemu wkrótce odkryto tę planetę, nazwaną potem Neptunem. [przypis edytorski]

których ostatecznie sobie nie wyobrażałem! W przedmiocie wolnomularstwa, niemieckiego szpiegostwa, morfinomanii, Léon Daudet<sup>1303</sup> pisze z dnia na dzień fantastyczną bajkę, która się okazuje najistotniejszą prawdą. Trzy na dziesięć! — powtarzał Brichot zdumiony.

Faktem jest, że pan de Charlus pomawiał o inwersję znaczną większość współczesnych, wyjmując bądź co bądź mężczyzn, z którymi miał stosunki i których psychika, o ile stosunki te były bodaj trochę zabarwione romantyzmem, zdawała mu się bardziej złożona. Podobnie widzimy, że donżuani niewierzący w honor kobiet przyznają go trochę jedynie jakiejś kobiecie, która była ich kochanką i co do której protestują szczerze i z tajemniczą miną: „Ależ nie, myli się pan, to nie jest taka kobieta”. Ten nieoczekiwany szacunek dyktuje im częścią miłość własna, której bardziej pochlebia, aby się takie fawory ograniczały do nich samych; częścią naiwność, biorąca się snadnie na wszystko, co kochanka zechciała w nich wmówić; częścią to poczucie życia, które sprawia, iż z chwilą gdy się zbliżamy do żywych istot, do egzystencji, wszelkie etykiety i przegródki stają się zbyt proste.

— Trzy na dziesięć! Ależ niech się pan strzeże: możesz pan być mniej szczęśliwy niż owi historycy, którzy mogą liczyć na przyszłą ratyfikację swoich sądów; gdybyś zechciał, baronie, pokazać potomności obraz, który nam tu malujesz, potomność mogłaby to uznać za kiepski żarcik. Ona sądzi jedynie z dokumentów i chciałaby się zapoznać z pańskim *dossier*. Otóż skoro żaden dokument nie potwierdza tego rodzaju zbiorowych przejawów, a jedyni ich świadkowie zbyt wiele mają powodów do tego, aby je zostawić w cieniu, bardzo by się oburzono w klanie pięknych dusz, uchodziłbyś pan wręcz za potwarce lub za wariata. O ile za życia uzyskałeś pan na konkursie elegancji maksimum głosów i rząd dusz na tej ziemi, o tyle za grobem mógłbyś być zbalotowany. Gra nie warta świeczki, jak mówi, Boże mi odpuść, nasz Bossuet<sup>1304</sup>.

— Ja nie pracuję dla historii — odparł pan de Charlus — życie mi wystarcza; jest dostatecznie interesujące, jak powiadał biedny Swann.

— Jak to? Pan znałeś Swanna, baronie, ależ ja nic nie wiedziałem! Czy i on miał te gusty? — spytał Brichot zaniepokojony.

— Ależ z tego Brichota cham! Czy pan myśli, że ja znam tylko takich ludzi? Nie, nie sądzę — rzekł Charlus ze spuszczoneymi oczami, jak gdyby ważąc w myśli argumenty za i przeciw.

I myśląc, że skoro chodzi o Swanna, którego przeciwne gusty były zawsze znane, połowiczne wyznanie będzie niewinne dla tego, kogo dotyczy, a pochlebne dla tego, który je insynuuje, baron dodał:

— Nie mówię, żeby niegdyś w szkole, czasem, przypadkiem, raz... — rzekł baron w pół mimo woli i tak, jakby myślał głośno; po czym, poprawiając się: — Ale to już dwieście lat temu, skąd pan chce, żebym sobie przypominał, nudzi mnie pan — zakończył, śmiejąc się.

— W każdym razie, ładny to on nie był — rzekł Brichot, który sam szpetny, miał się za przystojnego, łatwo zaś uznawał innych za brzydkich.

— Cicho pan siedź — rzekł baron — nie wie pan, co pan gada; w owych czasach Swann miał cerę jak brzoskwinia — dodał, dając każdej sylabie inną nutę — ładny był jak amerek. Zresztą został zawsze uroczy. Kobiety szalały za nim.

— Pan znał jego żonę?

— Ech, przecie to ja go z nią zapoznałem. Zachwyciła mnie pewnego wieczoru w swoim kostiumie, kiedy grała Miss Sacripant; byłem z kolegami z klubu, każdy wziął sobie jakąś kobietkę, co do mnie zaś, mimo że miałem ochotę jedynie chrapnąć, złe języki twierdziły (bo to jest okropne, jaki ten świat jest złośliwy), że się przespałem z Odetą. Tylko że ona skorzystała z tego, żeby się mnie czepiać; w nadziei, że się jej pozbędzie, przedstawiłem ją Swannowi. Od tej chwili nie przestała mnie męczyć, nie miała pojęcia o ortografii, to ja pisywałem jej listy. A później mnie przypadło zadanie oprowadzania

<sup>1303</sup> Daudet, Léon (1867–1942) — francuski literat, publicysta; monarchista i antysemita, razem z Charles'em Maurras utworzył nacjonalistyczną „Action Française”, popierał faszyzm Mussoliniego i Franco. [przypis edytorski]

<sup>1304</sup> Bossuet, Jacques-Bénigne (1627–1704) — francuski duchowny katolicki, biskup, teolog, wybitny mówca, wychowawca i nadworny kaznodzieja Ludwika XIV. [przypis edytorski]

jej. Oto, moje dziecko, co znaczy mieć dobrą reputację, widzisz. Zresztą zasługiwałem na nią tylko w połowie. Ona mnie zmuszała do tego, żeby jej urządzać straszliwe seanse z figurami, w pięcioro, sześcioro.

I pan de Charlus zaczął wyliczać kochanków Odety z taką ścisłością, jakby recytował listę królów francuskich: żyła z takim a takim, potem z tym a tym — wyliczał tak mężczyzn, z których ani jednego nie odgadł biedny Swann, oślepiiony na przemian zazdrością i miłością, wążący szanse i wierzący w przysięgi bardziej natarczywe niż jakaś sprzeczność, która się wymknie winnej, sprzeczność o wiele mniej uchwytna, a jednak o wiele bardziej znacząca i którą zazdrośnik mógłby wyzyskać logiczniej niż owe informacje, które wytacza fałszywie, aby zaniepokoić kochankę. I w istocie zazdrośnik jest — jak współcześni — za blisko, nie wie nic; jedynie dla obcych komizm cudzołóstwa przybiera ścisłość historii i wydłuża się w listę obojętną zresztą, a pełną smutku jedynie dla innego zazdrośnika, takiego jak ja na przykład, który nie może się powstrzymać od snucia analogii i który pyta sam siebie, czy kobieta, którą podejrzewa, nie posiada równie znamienitej listy. Ale nie dowie się nic; to jest jakby powszechna konspiracja, okrutny spiszek, w którym wszyscy biorą udział, a który polega na tym, aby podczas gdy kochanka przechodzi z rąk do rąk, trzymać mu na oczach zasłonę, którą on sili się wciąż bezskutecznie zerwać. I wszyscy solidarnie oślepiają nieszczęśnika; osoby dobre przez dobroć, złe przez złość, osoby pospolite dla figła, osoby dobrze wychowane przez grzeczność i przez dyskrecję, a wszyscy przez tę konwencję, która się zwie „zasadą”.

— Ale czy Swann nie dowiedział się nigdy, że pan się cieszył względami Odety?

— Ależ skądże, cóż za ohyda! Opowiedzieć Karolowi! Włosy na głowie powstają od tej myśli. Ależ, drogi panie, zabiłby mnie po prostu, zazdrosny był jak tygrys. Tak samo jak nie przyznałem się Odecie, której by to zresztą było wszystko jedno, że... ech, nie wyciągajcie mnie na głupstwa. A najlepsze, że to ona waliła do niego z rewolweru, przy czym o mało nie trafiła we mnie. Och, miałem przyjemności z tą parą; i naturalnie to ja musiałem być jego świadkiem w pojedynku z Osmondem, który mi tego nigdy nie darował. Osmond zabrał mu Odetę, a Swann dla pocieszenia się wziął za kochankę — czy „fałszywą kochankę” — siostrę Odety. Ale nie każecie mi chyba opowiadać całej historii Swanna, mielibyśmy tego na dziesięć lat, rozumiecie, znam to wszystko jak nikt. To ja dotrzymałem towarzystwa Odecie, kiedy nie chciała widzieć Karola. To mi nie było w smak, tym bardziej że mam bardzo bliskiego krewnego, który nosi nazwisko de Crécy, nie mając oczywiście do tego żadnego prawa, ale któremu ostatecznie to nie było miłe. Bo ona się kazała zwać: „Odeta de Crécy”, i mogła to czynić, będąc jedynie separowana z mężem swoim, niejakim de Crécy. To był Crécy całkiem autentyczny, bardzo przyzwoity jegomość, którego oskubała do ostatniego grosza. Ale co ja będę panu opowiadał o tym Crécy; widziałem z nim pana w samowarku, urządzał pan dla niego obiadki w Balbec. Musiał ich potrzebować biedaczysko, żył z małej pensyjki, którą mu wypłacał Swann; i domyślałem się, że od czasu śmierci Swanna renta musiała z pewnością wyschnąć. Czego nie rozumiem — rzekł do mnie pan de Charlus — to żeś pan, bywający niegdyś tak często u Karola, nie poprosił mnie dziś, żebym pana przedstawił królowej Neapolu. W sumie widzę, że pan się nie interesuje osobami jako osobliwościami, a to mnie dziwi zawsze u kogoś, kto znał Swanna; u niego ten typ zainteresowań był tak rozwinięty, że niepodobna rzecz, czy to ja byłem w tym względzie jego mistrzem, czy on moim. To mnie dziwi w tym stopniu, co gdybym widział kogoś, kto znał Whistlera<sup>1305</sup>, a nie miał pojęcia o smaku. Mój Boże, zwłaszcza dla Morela było ważne poznać królową; pragnął tego zresztą gorąco, bo to chłopak na wskroś inteligentny. To przykre, że ona poszła. Ale ostatecznie, postaram się ich spiknąć w tych dniach. Murowane, że ją pozna. Jedyłą możebną przeszkodą byłoby, gdyby umarła jutro. Otóż miejmy nadzieję, że to się nie zdarzy.

Naraz Brichot, wstrząśnięty proporcją „trzech na dziesięciu”, którą mu objawił pan de Charlus, Brichot, wciąż opanowany swoją myślą, z nagłością, która przypominała nagłość sędziego śledczego chcącego wycisnąć z oskarżonego zeznanie, ale która w rzeczywistości

<sup>1305</sup>Whistler, James Abbot McNeill (1834–1903) — amerykański malarz działający w Anglii; związany z wczesną fazą impresjonizmu, znany z portretów i pejzaży. [przypis edytorski]

była popisem własnej bystrości oraz objawem wzruszenia, z jakim przyszło profesorowi rzucić tak poważne oskarżenie, spytał ponuro pana de Charlus:

— A czy Ski nie należy też do takich?...

Aby obudzić podziw dla swej rzekomej intuicji, profesor wybrał to nazwisko, powiadając sobie, że skoro jest tylko trzech niewinnych na dziesięciu, małą szansę omyłki nastęcza Ski, który mu się wydawał trochę dziwny, cierpiał na bezsenność, perfumował się, krótko mówiąc, odbiegał od normy.

— Ależ ani trochę! — wykrzyknął baron z gorzką, apodyktyczną i zrozpaczoną ironią. Falsz, niedorzeczność, kulą w plot! Ski jest taki właśnie w oczach ludzi, którzy nie mają o tym pojęcia; gdyby był z takich, nie wyglądałby tak na to; mówię to bez cienia krytyki, bo on ma wdzięk i nawet ma dla mnie coś bardzo miłego.

— Ale niech nam pan powie jakieś nazwiska — nalegał Brichot.

Pan de Charlus zeszytywniał.

— Ech, drogi profesorze, pan wie, że ja żyję w abstrakcie; wszystko to interesuje mnie jedynie z punktu widzenia transcendentnego — odparł z nieufną drażliwością właściwą podobnym jemu i z przesadną grandilokwencją<sup>1306</sup> cechującą jego rozmowę. — Ja, rozumie pan, interesuję się jedynie ogólnymi prawidłami, mówię o tym tak, jak o prawie ciężkości.

Ale te chwile podrażnienia i reakcji, w których baron starał się ukryć swoje prawdziwe życie, trwały bardzo krótko wobec coraz częstszych godzin folgi, kiedy pozwalał się go domyślać, roztaczał je z drażniącą łaskawością, jako że potrzeba zwierzeń była u niego silniejsza niż obawa zdradzenia się.

— Chciałem tylko powiedzieć — podjął — że na jedną złą reputację mylną przypadają setki dobrych reputacji równie nieuzasadnionych. Oczywiście, liczba tych, którzy na tę reputację nie zasługują, zmienia się wedle tego, czy się pan kierujesz zeznaniami podobnych im czy innych. I faktem jest, że jeżeli złośliwość tych drugich hamowana jest zbyt dużą trudnością, z jaką przyszłoby im uwierzyć w przywarę równie dla nich okropną jak kradzież lub morderstwo uprawiane przez ludzi, których delikatność i serce znają, niezyczliwość pierwszych osobliwie podniecona jest potrzebą wierzenia... jak mam powiedzieć... w przystępność ludzi, którzy się im podobają, informacjami tych, których zmyliło podobne pragnienie, dystansem wreszcie, na jaki są zazwyczaj trzymani. Byłem świadkiem, jak ktoś, dość źle widziany z powodu tych skłonności, pomawiał pewnego człowieka z towarzystwa o podobne gusty. A jedyną racją był fakt, że ów człowiek z towarzystwa był dlań uprzejmy! Wszystko to są źródła optymizmu — rzekł naiwnie baron — w szacowaniu liczby. Ale prawdziwym źródłem olbrzymiej różnicy między obliczeniami profanów a obliczeniami świadomych rzeczy jest tajemnica, jaką ci otaczają swoje postęпки, aby je ukryć tamtym. A tamci, pozbawieni wszelkich środków informacji, byliby dosłownie zdumieni, gdyby się dowiedzieli bodaj ćwierci prawdy...

— Zatem nasza epoka wraca do Greków — rzekł Brichot.

---

<sup>1306</sup>grandilokwencja — górnolotny, napuszony styl mówienia. [przypis edytorski]

— Jak to do Greków? Pan sobie wyobraża, że to nie trwało potem? Spójrz za Ludwika XIV: młody Vermandois<sup>1307</sup>, Molier<sup>1308</sup>, książę Ludwik Badeński<sup>1309</sup>, Brunszwik<sup>1310</sup>, Charolais<sup>1311</sup>, Boufflers<sup>1312</sup>, Wielki Kondeusz<sup>1313</sup>, książę de Brissac<sup>1314</sup>...

— Hola, baronie: wiedziałem o *Monsieur*<sup>1315</sup>, wiedziałem o Brissacu z Saint-Simona<sup>1316</sup>; Vendôme<sup>1317</sup> oczywiście, zresztą wielu innych. Ale ta stara kanalia Saint-Simon często wspomina o Wielkim Kondeuszu i o Ludwiku Badeńskim i nigdy tego nie mówi.

— To fatalne, że ja muszę uczyć historii profesora Sorbony. Ależ, drogi profesorze, pan jesteś ciemny jak tabaka w rogu.

— Nasz baron jest surowy, ale sprawiedliwy. A teraz zrobię panu przyjemność: przypominałem sobie w tej chwili piosenkę z owej epoki, ułożoną w makaronicznej łacinie na burzę, która zaskoczyła Wielkiego Kondeusza, kiedy płynął Rodanem w towarzystwie swego przyjaciela, margrabiego de la Moussaye<sup>1318</sup>. Kondeusz powiada:

*Carus amicus Mussoeus,  
Ab! Deus bonus, quod tempus,  
Landerirette,  
Imbre sumus perituri.*<sup>1319</sup>

A la Moussaye uspokaja go, mówiąc:

*Securae sunt nostrae vitae,  
Sumus enim Sodomitae,  
Igne tantum perituri,  
Landeriri.*<sup>1320</sup>

— Cofam to, com powiedział — rzekł Charlus zmanierowanym dyszkantem — jest pan istną studnią wiedzy; napisze mi to pan, prawda, chcę to zachować w archiwach rodzinnych, toż moja cioteczno-stryjeczna prababka była siostrą Kondeusza.

<sup>1307</sup>Vermandois, właśc. Ludwik de Bourbon, brabia Vermandois (1667–1683) — nieślubny syn króla Ludwika XIV Burbona i Ludwika de la Valliere; mieszkał pod opieką wuja, księcia Filipa I Orleańskiego, uważanego powszechnie za libertyna i homoseksualistę, i podobno został uwiedziony przez Filipa de Lorraine-Armagnac, najsłynniejszego z kochanków swego wuja. [przypis edytorski]

<sup>1308</sup>Molier, właśc. Jean-Baptiste Poquelin (1622–1673) — największy francuski komediopisarz, aktor, dyrektor teatru. [przypis edytorski]

<sup>1309</sup>Ludwik Wilhelm Badeński (1655–1707) — dowódca armii cesarskiej, margrabia badeński (Baden-Baden w pld. Niemczech). [przypis edytorski]

<sup>1310</sup>Brunszwik, właśc. Karol II, książę Brunszwiku (1804–1873) — niemiecki książę Brunszwiku-Lüneburga z dynastii Welfów panujący w latach 1815–1830; znany ze swoich dziwactw, pozwał kilku wydawców gazet o zniesławienie, gdy twierdzili, że nakłaniał do kontaktów homoseksualnych. [przypis edytorski]

<sup>1311</sup>Charolais, właśc. Karol de Bourbon, brabia Charolais (1700–1760) — francuski arystokrata, książę krwi; nie miał legalnego potomstwa, po jego śmierci hrabstwo Charolais stało się częścią ziem królewskich. [przypis edytorski]

<sup>1312</sup>Boufflers, właśc. Louis-François de Boufflers (1644–1711) — francuski wojskowy, diuk de Boufflers, marszałek Francji, jeden z dowódców armii Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>1313</sup>Wielki Kondeusz, właśc. Ludwik II de Bourbon-Condé (1621–1686) — francuski arystokrata, książę krwi, książę de Condé, marszałek Francji, wybitny dowódca wojskowy. [przypis edytorski]

<sup>1314</sup>książę de Brissac, właśc. Henri-Albert de Cossé, książę de Brissac (1645–1698) — francuski szlachcic, roztrwonil wielki majątek, swój i swojej żony, zmarł bezpotomnie, powodując wygaśnięcie rodu. [przypis edytorski]

<sup>1315</sup>Monsieur — tu: tytuł brata króla Francji Ludwika XIV, Filipa I Orleańskiego (1640–1701), księcia Orleanu, założyciela dynastii orleańskiej; Filip Orleański miał dwie żony (Henriette Annę Stuart i Elżbietę Wittelsbach, księżniczkę Palatynatu Reńskiego), ale powszechnie znane były jego homoseksualne skłonności; listy jego drugiej żony do krewnych zostały zredagowane i przetłumaczone w 1863; pochodzą z nich anegdoty o homoseksualnych zachowaniach większości osób wymienionych przez pana de Charlus. [przypis edytorski]

<sup>1316</sup>Saint-Simon, właśc. Louis de Rouvroy, książę de Saint-Simon (1675–1755) — francuski żołnierz, dyplomata i pamiętnikarz; jego obszerne *Pamiętniki* są klasyką literatury francuskiej, przedstawiają najpełniejszy, żywy opis dworu za panowania Ludwika XIV oraz okresu regencji 1715–1723. [przypis edytorski]

<sup>1317</sup>Vendôme, właśc. Louis-Joseph de Bourbon, książę de Vendôme, zwany Wielkim Vendôme (1654–1712) — francuski generał Ludwika IV, marszałek Francji, jeden z najważniejszych dowódców w historii francuskiej armii. [przypis edytorski]

<sup>1318</sup>margrabia de la Moussaye, właśc. Amaury III Goyon, markiz de La Moussaye (1601–1663) — francuski szlachcic, oficer. [przypis edytorski]

<sup>1319</sup>*Carus amicus Mussoeus...* (łac.) — Drogi przyjacielu Muzejosie, ach, dobry Boże, co za pora, tralala, zginiemy w deszczu. [przypis edytorski]

<sup>1320</sup>*Securae sunt nostrae vitae...* (łac.) — Bezpieczne są nasze życia, jesteśmy bowiem sodomitami, tylko od ognia zginiemy, tralalali. [przypis edytorski]



— Dobrze, baronie, ale co się tyczy Ludwika Badeńskiego, nie znajduję nic. Zresztą w owej epoce sądzę, że w ogólności sztuka wojenna...

— Cóż za głupstwo! Vendôme, Villars<sup>1321</sup>, książe Eugeniusz<sup>1322</sup>, książe Conti<sup>1323</sup>, a gdybym panu powiedział o tych wszystkich bohaterach Tonkinu, Maroko — a mówię o naprawdę wspaniałych i pobożnych, i „z nowej generacji” — zdumiałbym pana. Ha! ha! Miałbym sporo do opowiedzenia ludziom, robiącym ankiety o nowej generacji, która odrzuciła czcze wyrafinowania swoich poprzedników jak powiada pan Bourget<sup>1324</sup>! Mam młodego przyjaciela, o którym się dużo mówi, który dokonał tam wspaniałych rzeczy... Ale, ostatecznie, nie chcę być złośliwy; wróćmy do XVII wieku; wie pan, że Saint-Simon powiada o marszałku d’Huxelles<sup>1325</sup> — pośród tylu innych: „Praktyk w rozpuszczenie greckiej, z którą nie raczył się kryć, czepiał się młodych oficerów, instalował ich u siebie w domu, nie licząc rosnących młodych lokajów, i to bez osłonek, w armii i w Strasburgu”. Czytałeś pan zapewne listy *Madame*<sup>1326</sup>; mężczyźni nie nazywali go inaczej niż „kurwą”. *Madame* mówi o tym dość wyraźnie.

— A mogła o tym wiedzieć z dobrego źródła, będąc żoną swojego męża.

— Bardzo interesująca figura, ta druga *Madame* — rzekł pan de Charlus. Można by z niej zrobić liryczną syntezę „żony pedeka”. Przede wszystkim kawał chłopca; żona pedeka jest zwykle mężczyzną, co ułatwia pedekowi zrobienie jej dzieci. Następnie, *Madame* nie mówi o zboczeniach męża, ale wciąż mówi o tym samym zboczeniu u innych, jak kobieta świadoma rzeczy i przez ten częsty narów, który sprawia, że lubimy znajdować w innych rodzinach skazy, od których cierpimy w naszej, aby dowieść samym sobie, że nie ma w tym nic wyjątkowego ani hańbiącego. Mówiłem panu, że to istniało we wszystkich czasach. Jednakże nasza epoka wyróżnia się specjalnie pod tym względem. I mimo przykładów, które zapożyczyłem z XVII wieku, gdyby mój wielki praszczur Franciszek de La Rochefoucauld<sup>1327</sup> żył w naszych czasach, mógłby powiedzieć o nich z większą racją niż o swoich, no, Bricot, pomóż mi pan: „Rozpusta istniała zawsze, ale gdyby osoby, które wszyscy u nas znają, zrodziły się w dawnych wiekach, czy mówionoby dziś o zboczeniach Heliogabala<sup>1328</sup>?”. Bardzo lubię to: „które wszyscy u nas znają”. Widzę, że mój roztropny krewniak znał ewidencję swoich najślawniejszych współczesników, jak ja swoich. Ale takich ludzi jest dzisiaj nie tylko więcej, mają też coś odrębnego.

Wyczułem, że pan de Charlus gotów jest opowiedzieć nam, w jaki sposób obyczaje te uległy ewolucji. Było coś dosyć skomplikowanie przykrego w usilności, z jaką baron wciąż wracał do tego tematu, w którym inteligencja jego, wciąż ostrzona w jednym kierunku, posiadała niejaką przenikliwość. Był „piłą”, jak uczony niewidzący nic poza swoją specjalnością; drażniący jak człowiek „dobrze poinformowany”, dumny z sekretów, które posiada i które rad by rozgadać; antypatyczny, jak ci, co z chwilą gdy chodzi o ich przywary, rozwodzą się nad nimi, nie widząc, że budzą niesmak; opętany jak maniak i zdradzający się nieodparcie jak przestępca. Cechy te, które chwilami stawały się równie niesamowite jak cechy wariata lub zbrodniarza, przynosiły mi zresztą pewne ukojenie.

<sup>1321</sup>Villars, właśc. *Honoré Armand de Villars* (1702–1770) — francuski szlachcic, żołnierz i polityk, książe i par Francji; powszechnie znany z homoseksualizmu, otrzymał przydomek „przyjaciel mężczyzny”. [przypis edytorski]

<sup>1322</sup>Eugeniusz Sabaudzki (1663–1736) — książe Sabaudii, wybitny dowódca cesarskich wojsk austriackich. [przypis edytorski]

<sup>1323</sup>Książę Conti, właśc. *Franciszek Ludwik de Bourbon-Conti* (1664–1709) — książe Conti (od 1685); podobno należał do homoseksualnego kręgu królewskiego brata, Filipa I Orleańskiego; w 1697 wybrany przez większość i oficjalnie ogłoszony królem Polski, zmuszony do ustąpienia na rzecz Augusta II, który pierwszy wkroczył do Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

<sup>1324</sup>Bourget, Paul (1852–1935) — francuski pisarz, autor powieści psychologicznych; pięciokrotnie nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, uznawany za jednego z największych powieściopisarzy przełomu XIX i XX w. [przypis edytorski]

<sup>1325</sup>marszałek d’Huxelles, właśc. *Nicolas Chalon du Blé, markiz d’Huxelles i Cormatin* (1652–1730) — francuski dowódca i polityk, marszałek Francji; jeden z najbardziej znanych homoseksualistów w swoich czasach. [przypis edytorski]

<sup>1326</sup>*Madame* — tu: tytuł bratowej króla Francji, drugiej żony Filipa I Orleańskiego, Elżbiety Wittelsbach (1652–1722), księżniczki Palatynatu Reńskiego, której ogromna korespondencja zawiera szczegółowe uwagi na temat dworu Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>1327</sup>*La Rochefoucauld, François de* (1613–1680) — francuski książe, pisarz i filozof, znany ze swoich pesymistycznych, dowcipnych aforyzmów. [przypis edytorski]

<sup>1328</sup>*Heliogabal* (204–222) — w młodości kapłan syryjskiego boga słońca, od 218 cesarz rzymski (jako Marek Aureliusz Antoninus); zyskał reputację rozpustnika i hedonisty. [przypis edytorski]

Poddając je bowiem koniecznej transpozycji, aby z nich wysnuć wnioski dotyczące Albertyny, przypominając sobie jej zachowanie się z Robertem, ze mną, powiadałem sobie (mimo przykrości, jaką mi sprawiało jedno z tych wspomnień, a melancholii, jaką mnie przejmowało drugie), powiadałem sobie, że one wykluczają chyba rodzaj tak wybitnej deformacji, nieodzownie, jak się zdaje, ekskluzywnej, która promieniowała z taką siłą ze słów i z osoby pana de Charlus. Niestety, baron zburzył rychło te przyczyny do nadziei w taki sam sposób, w jaki mi ich dostarczył, to znaczy bezwiednie.

— Tak — powiedział — nie mam już dwudziestu pięciu lat i widziałem wiele zmian dokoła; nie poznaję już ani społeczeństwa, gdzie bariery trzaśły, gdzie ciżba wyzuta z elegancji i przyzwoitości tańczy tango nawet w mojej rodzinie; ani mód, ani polityki, ani sztuki, ani religii — niczego. Ale przyznaję, że co się najbardziej zmieniło, to to, co Niemcy nazywają homoseksualizmem. Mój Boże, za moich czasów, poza ludźmi, którzy nie cierpieli kobiet, i tymi, co kochali wyłącznie kobiety, a inne rzeczy robili tylko dla interesu, homoseksualiści byli dobrymi ojcami rodzin i miewali kochanki jedynie dla pozorów. Gdybym miał córkę na wydaniu i gdybym chciał mieć pewność, że nie będzie nieszczęśliwa, szukałbym zięcia jedynie wśród takich. Niestety, wszystko się zmieniło. Teraz i tacy rekrutują się z ludzi najbardziej łasych na kobiety. Myślałem, że mam pewien węch i że kiedy sobie powiem: „Z pewnością nie”, nie mogę się omylić. I oto przychodzi mi wszystko odszczekać. Jeden z moich przyjaciół, człowiek dobrze znamy z tego, miał stangreta (dostarczyła mu go moja bratowa Oriana), chłopca z Combray, który uprawiał po trosze wszystkie rzemiosła, ale zwłaszcza uganiał za dziewczętami: byłbym przysiągł, że jest najdalszy od tych rzeczy. Doprowadzał do rozpaczki kochankę, zdradzając ją z dwiema kobietami, które ubóstwiał, nie licząc innych — jedna aktorka, druga dziewczyna z szynkowni. Mój kuzyn, książę Gilbert, obdarzony właśnie ową drażniącą inteligencją ludzi, którzy we wszystko za łatwo wierzą, rzekł mi pewnego dnia: „Ale czemu X nie sypia ze swoim stangretem? Kto wie, czyby to nie sprawiło przyjemności Teodorowi (imię stangreta) i czy on nawet nie jest dotknięty, że mu pryncypał nie robi awansów”. Nie mogłem się powstrzymać, aby nie zamknąć buzi Gilbertowi; drażniła mnie ta rzekoma przenikliwość, która stosowana bez rozróżnienia jest brakiem przenikliwości; a także drażniła mnie naiwna chytryść mego kuzyna, który by chciał, żeby nasz przyjaciel X zaryzykował przejście po desce, po której, gdyby się okazała bezpieczna, on by się puścił z kolei.

— Jak to! Książę Gilbert ma te gusty? — spytał Brichot z odcieniem zdziwienia i niesmaku.

— Mój Boże — odparł pan de Charlus zachwycony — to jest tak powszechnie znane, iż nie sądzę, abym popełnił niedyskrecję, mówiąc, że tak. Otóż następnego roku wybrałem się do Balbec i tam dowiedziałem się od majtka, który mnie brał czasami na połów, że mój Teodor (który, nawiasem mówiąc, ma siostrę pokojówkę u przyjaciółki pani Verdurin, baronowej Putbus) zachodził do portu, ot, aby upolować jakiegoś majtka, i to z piekielnym tupetem, po to by kropnąć spacer łódką „i jeszcze, jeszcze coś”.

Na mnie wówczas przyszła kolej zapytania, czy jego pryncypał, w którym poznałem owego pana grającego w Balbec cały dzień w karty z kochanką i będącego głową małego stowarzyszenia czterech przyjaciół, jest w tym podobny do księcia de Guermandes.

— Ależ tak, to wszyscy wiedzą, wcale się z tym nie kryje.

— Ale miał z sobą kochankę?

— No więc, co to znaczy; jakież te dzieciaki są naiwne — rzekł baron ojcowskim tonem, nie domyślając się cierpienia, jakie czerpałem z jego słów, myśląc o Albertynie. — Uroczą jest ta jego kochanka.

— W takim razie jego trzech przyjaciele są też tacy?

— Ależ wcale nie — wykrzyknął baron, zatykając sobie uszy, tak jakbym, grając, wziął fałszywą nutę. — Teraz znowu wpada w drugą ostateczność! Więc już człowiekowi nie wolno mieć przyjaciół? Och, młodzi, młodzi, wszystko mieszają. Trzeba będzie od nowa cię wychować, moje dziecko. Otóż — podjął — przyznaję, że ten wypadek (a znam wiele takich), mimo iż staram się zachować umysł otwarty dla wszystkiego, co niezwykle, wprawia mnie w kłopot. Jestem może bardzo zacofany, ale nie rozumiem

— rzekł baron tonem starego „gallikanina”<sup>1329</sup> mówiącego o pewnych formach ultramontanizmu<sup>1330</sup>, rojalisty-liberała mówiącego o Action Française<sup>1331</sup> lub ucznia Claude Moneta<sup>1332</sup> mówiącego o kubistach<sup>1333</sup>. — Nie potępiam tych nowatorów; zazdroszczę im raczej, staram się ich zrozumieć, ale nie mogę. Jeżeli tak kochają kobiety, po co, zwłaszcza w tym świecie robotniczym, gdzie to jest źle widziane, gdzie się kryją przez miłość własną, po co im to, co nazywają „chłopczykiem”? Widać to im daje coś innego. Ale co?

„Co kobieta może innego dawać Albertynie?” — myślałem, i tu tkwiło najoczywistej moje cierpienie.

— Stanowczo, baronie — rzekł Brichot — jeżeli kiedy Fakultet zechce utworzyć katedrę homoseksualizmu, zaproponuję pana *primo loco*<sup>1334</sup>. Lub raczej nie, bardziej by się panu nadał instytut specjalnej psychofizjologii. I widzę pana zwłaszcza na katedrze w Collège de France, oddającego się studiom, których rezultatów udzielałby pan niby jakiś profesor języka tamilskiego<sup>1335</sup> lub sanskrytu<sup>1336</sup>, wobec szczupłej garstki osób, które to interesuje. Miałbyś pan dwóch słuchaczy i pedela, przez co nie chcę rzucać cienia podejrzewania na nasz korpus pedelów, który uważam za nieskazitelny.

— Nic pan o tym nie wie — odciął baron twardym i ostrym tonem. — Zresztą, myli się pan, sądząc, że to interesuje tak mało kogo. Wprost przeciwnie.

I nie zdając sobie sprawy ze sprzeczności między nieodmiennym kierunkiem jego własnej rozmowy a zarzutem, jaki stawiał innym, baron mówił ze zgorszoną i zatroskaną miną:

— Wręcz przeciwnie, to przerażające, ile się wszędzie o tym mówi! To hańba, tak, ale tak już jest, drogi profesorze. Zdaje się, że przedwczoraj u księżnej d’Agen nie mówiono o niczym innym przez dwie godziny; pojmuje pan, jeżeli teraz kobiety zaczną o tym paplać, to istny skandal! A najplugawsze jest — dodał baron z ogniem i energią — to, że one czerpią swoje informacje od kanalii, od prawdziwych świntuchów, jak ten młody Châtellerault (o tym można by powiedzieć więcej niż o kimkolwiek!), którzy im opowiadają historyjki o innych. Słyszałem, że on wiesz na mnie wszystkie możliwe psy, ale ja o to nie dbam; uważam, że błoto i świństwa ciskane przez osobnika, którego omal nie wyrzucono z Jockey Clubu za szachrowanie w karty, może spaść tylko na niego. I na miejscu Joasi d’Agen, szanowałbym na tyle swój salon, aby w nim nie było mowy o podobnych tematach i aby nie włóczono u mnie moich krewnych w błocie. Ale nie ma już towarzystwa, nie ma reguł, nie ma konwenansów, tak w rozmowie jak w toalecie. Tak, drogi panie, to koniec świata. Wszyscy się zrobili tacy źli. Istny wyścig, kto powie więcej złego o innych. Ohyda.

Będąc od dzieciństwa tchórzem, jak w Combray, kiedyś uciekał, aby nie widzieć koniaku podsuwanego dziadkowi oraz próżnych wysiłków babki, błagającej go, aby nie pił, miałem tylko jedną myśl: uciec od Verdurinów przed egzekucją Charlusa.

— Muszę koniecznie iść — rzekłem do profesora.

<sup>1329</sup>*gallikanin* — ruch religijno-polityczny dążący do uniezależnienia Kościoła katolickiego we Francji od władzy papieskiej na rzecz władzy państwa. [przypis edytorski]

<sup>1330</sup>*ultramontanizm* (z łac. *ultramontanus*: znajdujący się za górami) — pogląd głoszący, że polityka lokalnych kościołów rzymskokatolickich powinna być podporządkowana decyzjom papieża (którego siedziba znajduje się stale w Watykanie, a więc „za górami”; stąd nazwa); ultramontanizm jest więc stanowiskiem oznaczającym usztywnienie doktryny Kościoła katolickiego oraz centralizację władzy kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>1331</sup>*Action Française* (fr.: Akcja francuska) — francuski skrajnie prawicowy (nacjonalistyczno-katolicki i monarchistyczny) ruch ideowo-polityczny w I poł. XX wieku; również tytuł gazety tego ruchu, zał. w 1899; po wyzwoleniu Francji przez wojska alianckie i ustanowieniu nowych władz wielu działaczy Akcji Francuskiej, na czele z Charles’em Maurrasem, zostało oskarżonych o kolaborację z Niemcami i skazanych. [przypis edytorski]

<sup>1332</sup>*Monet, Claude* (1840–1926) — malarz francuski, jeden z twórców impresjonizmu. [przypis edytorski]

<sup>1333</sup>*kubista* — przedstawiciel *kubizmu*, kierunku w sztukach plastycznych powstałego na pocz. XX w., charakteryzującego się sprowadzaniem przedmiotów i postaci do układów uproszczonych brył geometrycznych, próbami jednoczesnego przedstawiania przedmiotu z różnych punktów widzenia. [przypis edytorski]

<sup>1334</sup>*primo loco* (łac.) — na pierwszym miejscu. [przypis edytorski]

<sup>1335</sup>*tamilski* — język z rodziny drawidyjskiej, używany gł. w południowych Indiach oraz na wyspie Cejlon; jako język literacki wykształcił się w I w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>1336</sup>*sanskryt* — język indoaryjski z rodziny indoeuropejskiej, używany w staroż. Indiach, później jako język liturgiczny i literacki pełnił funkcję podobną do łaciny w Europie. [przypis edytorski]

— Idę z panem — odparł — ale nie możemy się wymknąć po angielsku. Chodźmy się pożegnać z panią Verdurin — zakończył profesor, kierując się do salonu z miną dziecka, które przy zabawie w fanty zagląda, „czy można wrócić”.

Podczas gdyśmy rozmawiali, Verdurin na znak żony zabrał Morela. Gdyby nawet zresztą po głębszym zastanowieniu pani Verdurin uznała, że roztropniej jest odłożyć te rewelacje, nie byłaby zdolna tego uczynić. Są pewne pragnienia — czasem zlokalizowane w ustach — które to pragnienia, skoro raz się im pozwoli wzrosnąć, domagają się zaspokojenia, bez względu na następstwa; nie możemy się oprzeć chęci ucałowania obnażonego ramienia, na które patrzymy od dawna i na które wargi nasze spadają niby wąż na ptaka; ani zjedzenia ciastka łaknącymi zębami; ani odmówić sobie zdumienia, zmieszania, bólu lub wesołości, jakie rozpętamy w czyjejś duszy nieoczekiwanym słowem. W takim nastroju, zawczasu opita melodramatem, pani Verdurin skłoniła męża, żeby wziął z sobą Morela i żeby się z nim rozmówił za wszelką cenę.

Zrazu Morel jął ubolewać, że królowa Neapolu wyszła, zanim go jej zdołano przedstawić. Pan de Charlus tyle mu się napowtarzał, że to jest siostra cesarzowej Elżbiety i księżnej d'Alençon, iż panująca ta nabrała w oczach Morela niezwyklej ceny. Ale pryncypał wytłumaczył mu, że nie po to się znaleźli tutaj, aby mówić o królowej Neapolu, i wszedł *in medias res*<sup>1337</sup>.

— Słuchaj pan — zakonkludował po jakimś czasie — jeżeli pan chce, zasięgniemy rady żony. Słowo honoru, nic jej jeszcze nie mówiłem. Zobaczymy, co ona na to wszystko powie. Mój pogląd może być mylny, ale pan wie, jaką żona ma głowę; przy tym ma dla pana niezmiernie wiele przyjaźni, chodźmy jej przedłożyć całą sprawę.

Pani Verdurin oczekiwała z niecierpliwością wzruszeń, jakich miała kosztować, rozmawiając ze skrzypkiem, a potem, kiedy on już odejdzie, każąc sobie ściśle zdać sprawę z dialogu między nim a mężem. I kiedy ona nie przestawała powtarzać: „Ale co oni mogą robić; mam choć nadzieję, że August, skoro go trzyma tak długo, zdołał go przekonać”, pan Verdurin wrócił z Morelem wyraźnie bardzo wzruszonym:

— Pan Morel chciałby cię poprosić o radę — rzekł Verdurin do żony z miną człowieka, który nie wie, czy ta prośba będzie wysłuchana.

Zamiast odpowiedzieć mężowi pani Verdurin, poniesiona zapałem, zwróciła się do Morela.

— Jestem absolutnie tego samego zdania co mąż; uważam, że pan nie może tego tolerować dłużej — wykrzyknęła gwałtownie, zapominając o czezej fikcji, umówionej między nią a mężem, mianowicie, że ona nie ma wiedzieć, o czym Verdurin mówił ze skrzypkiem.

— Jak to? Co tolerować? — wybąkał Verdurin, który starał się udąć zdziwienie i silił się bronić swego kłamstwa z niezręcznością tłumaczącą się zmieszaniem.

— Zgadłam, o czym z nim mówiłeś — odparła pani Verdurin, nie troszcząc się o prawdopodobieństwo i mało dbając o to, co później, przypominając sobie tę scenę, skrzypek mógłby pomyśleć o prawdomówności „pryncypałki”. — Nie — podjęła — uważam, że pan nie powinien cierpieć dłużej tej haniebnej wspólnoty z plugawą figurą, której nie przyjmują nigdzie — dodała, nie zważając, że to jest nieprawda, i zapominając, że baron bywał u niej prawie co dzień. — Jest pan pośmiewiskiem całego konserwatorium — dodała, czując że to jest najskuteczniejszy argument. — Miesiąc więcej, a pańska przyszłość artystyczna jest złamana, podczas gdy bez Charlusa powinien byś pan zarabiał więcej niż sto tysięcy rocznie.

— Ale ja nigdy nic nie słyszałem, zdumiewa mnie pani, jestem pani bardzo wdzięczny — wybąkał Morel ze łzami w oczach.

Ale zmuszony równocześnie udawać zdziwienie i pokrywać wstyd, był bardziej czerwony i bardziej się pocił, niż gdyby odegrał pod rząd wszystkie sonaty Beethovena; w oczach jego zjawyły się łzy, których mistrz z Bonn z pewnością by mu nie wycisnął.

— Jeżeli pan nic nie słyszał, to chyba pan jeden! Ten pan baron ma obrzydliwą reputację i paskudne historie. Wiem, że policja ma go na oku, co jest zresztą dla niego najszczęśliwsze, jeżeli nie ma skończyć tak, jak wszyscy jemu podobni, zamordowany

<sup>1337</sup>*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy; w sedno sprawy. [przypis edytorski]

przez apaszów<sup>1338</sup> — dodała, bo myśl o Charlusie przywodziła jej na pamięć impertynencje pani de Duras; toteż w przypiływie wściekłości starała się pogłębić jeszcze rany, jakie zadawała nieszczęsnemu Charliemu, i pomścić te, które sama otrzymała tego wieczora. — Zresztą nawet materialnie on się panu nie zda na nic; jest całkiem zrujnowany, od czasu jak jest ofiarą szantażystów. Nie zdołają wycisnąć z niego wiele, a pan jeszcze mniej, bo wszystko jest zafantowane<sup>1339</sup>, pałac, zamek itd.

Morel uwierzył w to kłamstwo tym łatwiej, ponieważ pan de Charlus lubił go brać na powiernika swoich stosunków z apaszami, rasy, do której syn lokaja, choćby sam najplugawszy, żywi wstręt równy jego przywiązaniu do bonapartyzmu.

Już w chytrym umyśle Morela zakiełkowała kombinacja analogiczna do tej, którą nazywano w XVIII wieku „odwróceniem aliansów”. Zdecydowany stanowczo zerwać z panem de Charlus, zamierzał wrócić nazajutrz do siostrzenicy Jupiena, aby wszystko naprawić. Nieszczęściem dlań, ten projekt miał zawieść, bo pan de Charlus miał jeszcze tego wieczora z Jupieniem schadzkę, na którą eks-krawiec, mimo świeżych wypadków, nie ośmielił się nie stawić. Kiedy za sprawą Morela zaszły inne wydarzenia i kiedy Jupien, płacząc, opowiedział swoje nieszczęścia baronowi, ten, nie mniej zboląły, oświadczył, że zaadoptuje opuszczoną dziewczynę, nada jej jeden z tytułów, którymi rozporządzał (prawdopodobnie tytuł panny d’Oleron), postara się uzupełnić jej wykształcenie i wyda ją bogato za mąż. Obietnice te mocno ucieszyły Jupiena, nie zrobiły zaś wrażeń na jego siostrzenicy, bo wciąż kochała Morela, który przez głupotę lub cynizm zachodził niedbale do sklepu, kiedy Jupiena nie było. „Co ty wyprawiasz — mówił, śmiejąc się — z tymi podkrążonymi oczami? Zgryzoty miłosne? Ba, lata płyną, ludzie się zmieniają... Ostatecznie wolno człowiekowi przymierzyć trzewik, a tym bardziej kobietę, i jeżeli mu się nie nada...”. Rozgniewał się tylko raz, kiedy płakała; uważał to za nikczemną i niegodną sztuczkę. Nie zawsze człowiek dobrze znosi łzy, które wyciska z oczu.

Ale zanadto uprzedziliśmy wypadki, bo wszystko to działo się dopiero po wieczorze Verdurinów, któryśmy przerwali i który trzeba nam podjąć w tym samym punkcie.

— Nigdy nie byłbym się domyślił — wzdychał Morel w odpowiedzi na słowa pani Verdurin.

— Oczywiście nie mówią tego panu w oczy; co nie przeszkadza, że pan jest pośmiewiskiem całego konserwatorium — odparła jadownicie pani Verdurin, chcąc dowieść Morelowi, że chodzi tu nie tylko o pana de Charlus, ale i o niego. — Chcę wierzyć, że pan nic nie wie, mimo że gadają o tym dość głośno. Niech pan spyta Skiego, co mówiono kiedyś u Chevillarda, o dwa kroki od nas, kiedy pan wszedł do mojej łoży. Po prostu pokazują pana palcami. Co do mnie, powiem panu, że na to nie zważam; ale to fakt, że to straszliwie ośmiesza mężczyznę i że zostaje już pośmiewiskiem na całe życie.

— Nie wiem, jak pani dziękować — rzekł Charlie tonem takim, jakim się dziękuje dentyście, który nam zadał straszliwy, a pokrywany przez nas ból, lub krwiożerczemu sekundantowi, który nas zmusił do pojedynku o błahy żart, oświadczywszy: „Nie może pan tego schować do kieszeni”.

— Sądzę, że pan ma charakter, że pan jest mężczyzną — odparła pani Verdurin. — Potrafi pan mówić głośno i wyraźnie, chociaż on opowiada na prawo i lewo, że się pan nie ośmieli, że trzyma pana w ręku.

Charlie, sztukując pożyczoną godnością podarte strzępy własnej, przypomniał sobie coś, co przeczytał lub usłyszał, i natychmiast oświadczył:

— Nie nauczono mnie przymykać oczu na takie sprawy. Dziś wieczór zerwę z panem de Charlus. Królowa Neapolu już poszła, nieprawdaż?... Inaczej przed zerwaniem poprosiłbym go...

— Nie jest konieczne całkiem z nim zrywać — rzekła pani Verdurin, nie chcąc rozbijać swego kółka. — Doskonale mógłby go pan widywać tutaj, w naszej „paczce”, gdzie pana cenią, gdzie nikt o panu nie powie nic złego. Ale niech pan zażąda swobody ruchów; a następnie niech mu się pan nie pozwala wlec do wszystkich kłep, które są przyjemne w oczy, ale chciałabym, żebyś pan słyszał, co one mówią za plecami. Zresztą niech pan tego nie żałuje; nie tylko zmywa pan plamę, która by panu została na całe życie, ale biorąc

<sup>1338</sup> *apasz* — chuligan, drobny przestępca, osoba z paryskiego półświatka. [przypis edytorski]

<sup>1339</sup> *zafantowany* (daw.) — zajęty za długi. [przypis edytorski]

artystycznie, nawet gdyby nie chodziło o ubliżającą protekcję Charlusa, powiem panu, że marynowanie się w tym fałszywym wielkim świecie dałoby panu wygląd niepoważny, reputację amatora, salonowego muzyka, co jest groźne w pańskim wieku. Rozumiem, że dla wszystkich tych damulek bardzo wygodnie jest robić grzeczności przyjaciółkom, sprowadzając pana gratis; ale koszta tego opłaciłaby pańska przyszłość jako artysty. Iść do jednej, do dwóch — nie mówię. Wspominał pan o królowej Neapolu, która poszła, bo miała jakiś wieczór; to zacna kobieta i powiem panu, iż sądzę, że ona nieszczęśliwym okiem widzi Charlusa i przyszła zwłaszcza dla mnie. Tak, tak, wiem, że miała ochotę poznać mnie i męża. To jest dom, gdzie pan mógłby zagrać. A potem powiem panu, że gdyby pan gdzieś poszedł ze mną, którą artyści znają, wie pan, dla której zawsze są tacy mili, którą uważają po trosze za swoją, za swoją „pryncypałkę”, to zupełnie inna sprawa. Ale niech się pan strzeże zwłaszcza jak ognia chodzić do takiej Duras! Niech pan nie robi podobnego głupstwa! Znam artystów, którzy przychodzili mi się zwierzać potem. Wiedzą, że mnie mogą zaufać — rzekła z łagodną prostotą, jaką umiała nagle przybierać, dając swoim rysom wyraz skromności, oczom swoisty czar — ot, przychodzą mi opowiadać swoje kłopoty; ci, co uchodzą za największych milczków, gawędzą ze mną czasem godzinami, nie umiem panu powiedzieć, jacy są wówczas zajmujący. Biedny Chabrier powiedział zawsze: „Jedna pani Verdurin umie człowieka rozgadać”. Otóż wie pan, wszyscy, powiadam panu, bez wyjątku, płakali po prostu, że się dali złapać na granie u tej Duras. Nie tylko ona sama z rozmysłu upokarza ich przez służbę, ale nie mogli potem nigdzie znaleźć *engagement*<sup>1340</sup>. Dyrektorzy mówili: „A, to ten, co grywa u księżnej de Duras”. Skończone. Nie ma rzeczy, która by bardziej podcięła panu skrzydła. Pan wie, te światowe wysługi nie przydają artyście powagi; może ktoś mieć talentu ile wlezie, ale smutno powiedzieć, wystarczy jednej pani de Duras, żeby człowiek zyskał opinię amatora. A dla artystów, pan wie, rozumie pan, że ja ich znam, toć od czterdziestu lat żyję z nimi, popieram ich, lansuję, interesuję się nimi, otóż, wie pan, dla nich powiedzieć o kimś „amator” to już koniec. I w gruncie zaczynano to mówić o panu. Ileż razy musiałam walczyć o pana, zapewniać, że pan nigdy by nie grał w jakimś pociesnym salonie! Wie pan, co odpowiadano: „Ależ będzie musiał; Charlus nawet się go nie spyta, on się go nie pyta o zdanie”. Ktoś myślał, że sprawi baronowi przyjemność, mówiąc: „Wspaniały artysta, ten twój przyjaciel Morel”. Czy pan wie, co on odpowiedział, z tą impertynenką miną, którą pan zna: „Skąd się panu uroiło, że to mój przyjaciel; nie jesteśmy z tej samej sfery, powiedz pan, że to moja kreatura<sup>1341</sup>, mój protegowany...” — W tej chwili pod wysklepionym czołem bogini muzyki kłębiła się jedyna rzecz, której pewne osoby nie umieją zachować dla siebie, słowo, które powtarzać jest nie tylko wstrętne, ale nieostrożne. Ale potrzeba powtórzenia go mocniejsza jest niż honor, niż ostrożność. Tej właśnie potrzebie, po paru konwulsyjnych drganiach sferycznego i stroskanego czoła, uległa „pryncypałka”: — Powtórzono nawet mężowi, że powiedział: „mój służący”, ale tego nie mogą twierdzić — dodała. Podobna potrzeba skłoniła pana de Charlus, wkrótce po przysiędze danej Morelowi, że nikt nigdy nie dowie się o jego pochodzeniu, do zwierzenia pani Verdurin: „To syn lokaja”. Podobna również potrzeba, teraz kiedy słowo padło, miało mu dać krążyć z ust do ust między osobami powierzającymi je sobie pod pieczęcią tajemnicy — przyrzeczonej, a niedotrzymanej, tak jak jej nie dotrzymały one same. Te słowa miały w końcu wrócić, niby w grze w „lisa”, do pani Verdurin, różniąc ją z zainteresowanym, który się w końcu o tym dowie. Wiedziała o tym, ale nie mogła powstrzymać słowa, które jej parzyło język. Słowo „służący” musiało zranić Morela; mimo to powiedziała „służący”, a jeżeli zrobiła zastrzeżenie, uczyniła to po to, aby tym odcieniem wyrazić, że jest pewna reszty, i aby okazać bezstronność. Ta jej bezstronność wzruszyła ją samą tak, że zaczęła mówić tkliwie: — Bo widzi pan, ja jemu nie robię wyrzutów; ciągnie pana w przepaść, to prawda, ale to nie jego wina, skoro się sam w nią stacza, skoro się w nią stacza — powtórzyła silniej, oczarowana trafnością obrazu, który wyrwał się jej z ust tak szybko, że zauważyła go dopiero teraz i starała się go uwydatnić. — Nie; ale wyrzucam mu to — rzekła lirycznie jak kobieta oszołomiona swoim sukcesem — że on w stosunku do pana nie ma delikatności. Są rzeczy, których nie opowiada się całemu światu. I tak przed

<sup>1340</sup>*engagement* (fr.) — angaż, umowa z artystą. [przypis edytorski]

<sup>1341</sup>*kreatura* (daw., z łac.) — osoba zawdzięczająca swoją pozycję komuś wpływowemu, wykreowana przez kogoś. [przypis edytorski]

chwilą baron założył się, że się pan zaczerwieni z przyjemności, kiedy panu oznajmi (błaga oczywiście, bo jego protekcja byłaby dostateczną przeszkodą), że pan dostanie Krzyż Legii. To jeszcze mniejsza, mimo że nigdy tego nie lubiłam — dodała tonem delikatnym i godnym — żeby ktoś oszukiwał przyjaciół; ale pan wie, że są drobiazgi, które nam sprawiają przykrość. Na przykład kiedy baron, pękając ze śmiechu, opowiada, że jeżeli pan pragnie Krzyża Legii, to przez wzgląd na wuja, i że pański wuj był fagasem<sup>1342</sup>.

— Powiedział to! — wykrzyknął Charlie, uwierzywszy z tych zręcznych cytatów w prawdę wszystkiego, co mówiła pani Verdurin. Pani Verdurin uczuła przypływ szczęścia, niby stara kochanka, która już na wpół opuszczona przez młodego amanta, zdoła szczęśliwie zerwać jego małżeństwo. I może nie obmyśliła swego kłamstwa i nie skłamała świadomie. Pewna logika uczuć, jeszcze pierwotniejszy może nerwowy odruch, który jej kazał, dla rozrywki i dla chronienia swego szczęścia, „mącić wodę” w swojej „paczce”, sprowadzał jej odruchowo na wargi (zanim miała czas skontrolować prawdziwość faktów) te twierdzenia szatańsko skuteczne, jeżeli nie całkiem ściste.

— Gdyby to mówił tylko nam, to by nie miało znaczenia — ciągnęła „pryncypalka”. — My wiemy, że tego, co on mówi, trzeba jednym uchem słuchać, a drugim wypuszczać; przy tym żadna praca nie hańbi, a wartość swoją zawdzięcza pan sobie; ale nie mogę ścierpieć, że on zabawia tym panią de Portefin — pani Verdurin zacytowała ją umyślnie, bo wiedziała, że Charlie kocha się w pani Portefin. — Mąż mówił mi, słysząc to: „Wolałbym dostać po papie”. Bo Gustaw pana kocha tyle co ja — w ten sposób dowiedziano się, że pan Verdurin nazywa się Gustaw. — W gruncie to jest tkliwe serce.

— Ależ ja ci nigdy nie mówiłem, że go kocham — mruknął Verdurin, robiąc zacnego burczymuchę. — To Charlus go kocha.

— Och, nie, teraz rozumiem różnicę, byłem ofiarą nędznika, a pan jest dobry — wykrzyknął szczerze Charlie.

— Nie, nie — szepnęła pani Verdurin, czując, że jej „środy” są ocalone, i nie nadużywając zwycięstwa. — Nędznik to za wiele powiedziane: robi dużo, bardzo dużo złego, nieświadomie; pan wie, ta historia z Legią nie trwała bardzo długo. A byłoby mi nieprzyjemnie powtórzyć panu wszystko, co opowiadał o pańskiej rodzinie — rzekła pani Verdurin, która byłaby w wielkim kłopotcie, gdyby jej przyszło to uczynić.

— Och! To nic nie znaczy, że nie trwało długo; to dowodzi, że to jest zdrajca! — wykrzyknął Morel.

W tej właśnie chwili weszliśmy do salonu.

— Ha! ha! — wykrzyknął pan de Charlus, odnajdując Morela i zbliżając się do muzyka z radością człowieka, który zorganizował umiejętnie cały wieczór pod kątem schadзки z kobietą i który w swoim upojeniu nie domyśla się, że sam zastawił pułapkę, w którą ludzie nastawieni przez męża złapią go, aby go publicznie ochłostać. — I cóż, nareszcie jesteś: gdzieś ty się ukrywał, młoda sławo i niebawem młody kawalerze Legii Honorowej? Bo niedługo będziesz mógł przypiąć sobie Krzyż Legii — rzekł pan de Charlus do Morela z akcentem tkliwości i tryumfu, wzmianką o Krzyżu Legii potwierdzając właśnie kłamstwa pani Verdurin, w których Morel uznał z tą chwilą bezsporną prawdę.

— Zostaw mnie pan, zabraniam panu zbliżać się do mnie! — krzyknął Morel. — To dla pana nie pierwszyna, ja nie jestem pierwszy, którego pan próbuje znieprawić.

Jedyną moją pociechą była myśl, że ujrzę Morela i Verdurinów startych w proch przez pana de Charlus. Za tysiąc razy mniejsze rzeczy doznawałem jego oszalałych gniewów; nikt nie był od nich bezpieczny, król nie byłby go onieśmielił. Otóż stała się rzecz zdumiewająca. Ujrzelśmy pana de Charlus, jak stał niemy, zdrętwiały, zgłębiając swoje nieszczęście i nie rozumiejąc jego przyczyny, nie znajdując słowa, podnosząc oczy kolejno na wszystkich obecnych, z miną badawczą, oburzoną, błagalną, zdającą się pytać nie tyle, co się stało, ile co ma odpowiedzieć. A przecie pan de Charlus posiadał wszystkie zasoby nie tylko wymowy, ale zuchwalstwa, kiedy zdjęty od dawna kipiącą w nim wściekłością, przygwałdził kogoś osłupiałego za pomocą najkrwawszych słów wobec zgorszonego towarzystwa, nie przypuszczającego nigdy, aby się można było posunąć tak daleko. W takich wypadkach pan de Charlus ział ogniem, miotał się w istnych atakach, które wszystkich przyprawiały o drżenie. Ale bo wówczas baron miał inicjatywę, atakował, mówił to, co

<sup>1342</sup>fagas (daw.) — służący, lokaj. [przypis edytorski]

chciał (jak Bloch umiał żartować z Żydów, a rumienił się, kiedy ktoś wymówił to słowo przy nim). Może gdy ujrzał, że państwo Verdurin odwracają oczy i że mu nikt nie przyjdzie z pomocą, oniemił go doraźny ból, a zwłaszcza obawa przed przyszłym cierpieniem; i to, że nie namontowawszy się z góry i nie nastroiwszy swego gniewu, nie mając gotowej wściekłości w zanadrzu, zaskoczony nagle, otrzymał cios w chwili, gdy był bez broni. Wrażliwy, histeryczny, baron był człowiekiem szczerze impulsywnym, ale pozornie tylko odważnym; nawet pozornie złym (czego się zawsze domyślałem i co mi go czyniło sympatycznym). Ludzi, których nienawidził, nienawidził dlatego, iż sądził, że nim gardzą; gdyby byli dlań mili, wówczas zamiast się upijać wściekłością uściskałby ich; nie miał normalnych reakcji obrażonego na honorze człowieka. W środowisku przy tym nie będącym jego sfer, czuł się mniej swobodny i mniej odważny niż w Faubourg Saint-Germain. Faktem jest, że w tym pogardzanym salonie ów wielki pan (którego wyższość nad „tykami” nie bardziej była z nim zrośnięta niż u któregoś z jego przodków drżącego przed trybunałem rewolucyjnym), dotknięty paraliżem wszystkich członków i języka, umiał jedynie rzucać na wszystkie strony przerażone spojrzenia, oburzone własną krzywdą, błagalne i pytające. W tak okrutnej, a nieprzewidzianej sytuacji, ten wielki pyskacz umiał jedynie wyjąkać: „Co to znaczy, co się stało?”. Nie dosłyszano go nawet. I wiekuisty gest panicznego strachu tak mało się zmienił, że ten starszy pan, któremu się zdarzyła niemiła przygoda w paryskim salonie, powtarzał bezwiednie kilka schematycznych póz, w jakich dawna rzeźba grecka wystylizowała przestrach nimf ściganych przez bożka Pana<sup>1343</sup>.

Ambasador w niełasce, biurokrata przeniesiony nagle w stan spoczynku, chłodno przyjęty światowiec, zawiedziony kochanek rozważają często przez całe miesiące wypadek, który stał się grobem ich nadziei; obracają go na wszystkie strony niby granat wydobyty nie wiadomo skąd i nie wiadomo przez kogo, bez mała jak aerolit<sup>1344</sup>. Chcieliby poznać składniki szczególnego pocisku, który spadł na nich; odgadnąć zakłętę w nim złe intencje. Chemicy rozporządzają bodaj analizą; chorzy cierpiący na nieznaną im chorobę mogą sprowadzić lekarza; sprawy kryminalne rozplątuje mniej lub więcej sędzia śledczy. Ale rzadko odkrywamy pobudki bliźnich i ich niewytłumaczonych dla nas postępów. I tak (aby uprzedzić wypadki następujące po tym wieczorze, do którego powrócimy), dla pana de Charlus w zachowaniu się Morela jedno tylko było jasne. Charlie, który często groził baronowi, że rozgłosi jego miłość i zaloty, skorzystał zapewne z tego, że obecnie czuł się dość silny, aby latać na własnych skrzydłach. I widocznie przez czystą niewdzięczność opowiedział wszystko pani Verdurin. Ale w jaki sposób pani Verdurin dała się oszukać? Bo baron, zdecydowany przeczyć, sam był już przeświadczony, że uczucia, o jakie mogą go pomawiać, są urojeniem. Przyjaciele pani Verdurin, może sami dybiąc na cnotę Morela, przygotowali grunt. W rezultacie przez następne dni pan de Charlus wysyłał straszliwe listy do wielu „wiernych”, zgoła niewinnych, którzy myśleli, że baron oszalał. Potem wybrał się do pani Verdurin z długim i wzruszającym opowiadaniem, które nie osiągnęło zresztą upragnionego skutku. Bo z jednej strony pani Verdurin powtarzała baronowi: „Niech się pan już nim po prostu nie zajmuje, niech pan to zlekceważy, to dzieciak”, gdy baron wzdychał tylko do pojednania; z drugiej strony, aby osiągnąć ten cel, odejmując Morelowi wszystko, co skrzypek uważał za swój stan posiadania, baron prosił panią Verdurin, aby przestała przyjmować Morela; odmówiła, narażając się na wzburzone i sarkastyczne listy pana de Charlus. Przechodząc od jednego do drugiego przypuszczenia, baron nie dojrzał nigdy prawdy, mianowicie, iż rzecz wcale nie wyszła od Morela. Zapewne mógłby się tego dowiedzieć, prosząc skrzypka o chwilę rozmowy. Ale uważał to za niegodne siebie i sprzeczne z interesami swojej miłości. Był obrażony, czekał wyjaśnień. Zresztą prawie zawsze w związku z myślą o rozmowie zdolnej rozproszyć nieporozumienie czai się jakaś inna myśl, która z tych czy innych przyczyn każe nam tej rozmowy unikać. Ten, co w dwudziestu okazjach poniżył się i dowiódł własnej słabości, zdobędzie się na dumę dwudziesty pierwszy raz, właśnie wówczas, kiedy byłoby celowe nie upierać się i rozproszyć błąd utrwalający się w drugiej osobie wobec braku zaprzeczenia.

<sup>1343</sup>*Pan* (mit. gr.) — bóg opiekuńczy pól i lasów, pasterzy i ich stad, przedstawiany z kozłimi nogami; przypisywano mu dużą aktywność seksualną, a obiektami jego zalotów były zarówno nimfy, jak i młodzi chłopcy; jego nagły krzyk miał wywoływać wśród ludzi i zwierząt nagły popłoch i przerażenie, stąd określenie: paniczny strach. [przypis edytorski]

<sup>1344</sup>*aerolit* — meteoryt kamienny. [przypis edytorski]



A teraz światowa strona tego wypadku. Rozeszła się pogłoska, że pana de Charlus wyrzucono za drzwi od Verdurinów, w chwili gdy się starał zgwałcić młodego muzyka. Pogłoska ta sprawiła, że nie dziwiono się, nie spotykając już pana de Charlus u Verdurinów; kiedy zaś przypadkiem spotkał gdzieś któregoś z „wiernych”, posądzonego i znieważanego przez barona, nikt się nie dziwił, że ów się nie wita z panem de Charlus. Sądono, że już nikt z „paczki” nie kłania się baronowi.

Podczas gdy pan de Charlus, zmiażdżony słowami Morela i zachowaniem się „pryncypalki”, trwał w pozie nimfy zdjętej panicznym strachem, państwo Verdurin, jakby na znak dyplomatycznego zerwania, usunęli się do pierwszego salonu, zostawiając pana de Charlus samego, gdy na estradzie Morel pakował skrzypce.

— Opowiesz nam, jak się to odbyło — rzekła łakomie pani Verdurin do męża.

— Nie wiem co mu pani powiedziała — rzekł Ski. — Wyglądał straszliwie wzruszony, ma łzy w oczach.

— Sądzę, że to, co powiedziałam, było mu całkiem obojętne — rzekła pani Verdurin. Manewr ten, niezdolny zresztą oszukać wszystkich, miał zmusić rzeźbiarza do powtórzenia, że Charlie płakał. Łzy te napawały „pryncypalkę” zbyt wielką dumą, aby się chciała narazić na to, że ktoś z „wiernych” mógłby nie dosłyszeć i nie dowiedzieć się o nich.

— Ależ nie, to mu nie było obojętne, widziałem przecie wielkie łzy błyszczące w jego oczach — rzekł rzeźbiarz oblesnym tonem, uśmiechając się z porozumiewawczą złośliwością, zerkając równocześnie dla sprawdzenia, czy Morel znajduje się wciąż na estradzie i czy nie może słyszeć. Ale była osoba, która usłyszała i której obecność, skoro ją tylko spostrzeżono, miała przywrócić Morelowi straconą nadzieję. Była to królowa Neapolu, która zapomniawszy wachlarza, uważała za uprzejmiejsze, opuszczając inny wieczór, wstąpić po wachlarz sama. Weszła skromnie, jakby zmieszana, gotowa się usprawiedliwić i zostać chwilę teraz, kiedy już nie było nikogo. Ale nie spostrzeżono jej wejścia w ogień wydarzenia, które królowa zrozumiała natychmiast i które ją oburzyło.

— Ski powiada, że on miał łzy w oczach, czy ty to zauważyłeś? — rzekła pani Verdurin.

— Ja nie widziałam łez. A, owszem, przypominam sobie — poprawiła w obawie, aby nie uwierzono jej zaprzeczeniu. — Co do naszego baronka, nietęgą ma minę, powinien by usiąść na krześle, ledwo stoi na nogach, rozciągnie się — rzekła z bezlitosnym śmiechem.

W tej chwili, Morel podbiegł do niej.

— Czy ta pani, co weszła, to nie królowa Neapolu? — spytał (mimo iż wiedział, że to ona), pokazując królową, która podeszła do Charlusa. — Po tym, co się zdarzyło, nie mogę już, niestety, prosić barona, żeby mnie przedstawił.

— Zaczekaj pan, ja to zrobię — rzekła pani Verdurin i w towarzystwie paru „wiernych” (ale nie moim i nie Brichota, obaj bowiem czym prędzej poprosiliśmy o rzeczy i wyszliśmy) zbliżyła się do królowej, która rozmawiała z panem de Charlus. Ów wierzył przed chwilą, że jedynie nieprawdopodobna śmierć monarchini mogłaby udaremnić jego marzenie, mianowicie, aby przedstawić Morela królowej. Ale człowiek wyobraża sobie przyszłość jako refleks teraźniejszości rzutowanej w pustą przestrzeń, gdy ona jest wynikiem — często bardzo bliskim — przyczyn przeważnie dla nas nieuchwytnych. Nie upłynęła godzina, a oto pan de Charlus dałby wszystko za to, żeby Morela nie przedstawiono królowej. Pani Verdurin złożyła przed królową ukłon. Widząc, że ta jej nie poznaje, rzekła:

— Jestem pani Verdurin. Wasza królewska mość mnie nie poznaje.

— Owszem — rzekła królowa, mówiąc dalej do Charlusa tak naturalnie i z miłą tak doskonale nieobecna, że pani Verdurin nie wiedziała, czy to do niej odnosi się owo „owszem”, wymówione tonem tak cudownego roztargnienia, które wyrwało panu de Charlus, w pełni jego miłosnej rozpacz, uśmiech wdzięczności. Był to uśmiech smakosza i znawcy w zakresie impertynencji.

Morel, przeczuwając prezentację, zbliżył się. Królowa podała ramię panu de Charlus. Na niego też była zła, ale tylko dlatego, że nie stawił energiczniej czoła nikczemnym zuchwalcom. Rumieniła się zań ze wstydu, że Verdurinowie ośmielili się go traktować w ten sposób. Pełna prostoty sympatia, jaką im okazała przed paru godzinami, oraz impertyncka duma, z jaką stała teraz pośród nich, miały źródło w tym samym odruchu jej serca. Będąc głęboko dobrą, królowa pojmowała dobroć przede wszystkim jako niezłom-

ne przywiązanie do tych, których kochała, do swoich, do wszystkich członków rodziny (do których należał pan de Charlus), następnie do wszystkich osób z mieszczaństwa lub z prostego ludu umiających szanować tych, których kochała, i żywić dla nich dobre uczucia. Okazała sympatię pani Verdurin, uważając ją za kobietę obdarzoną tymi instynktami. Niewątpliwie jest to ciasne, trochę torysowskie<sup>1345</sup> i coraz bardziej przestarzałe pojęcie dobroci; co nie znaczy, aby ta dobroć była mniej szczerą i mniej gorącą. Starożytni kochali nie mniej silnie społeczność ludzką, której część stanowili, mimo iż ta społeczność nie przekraczała granic miasta; a ludzie dzisiejsi nie mniej kochają ojczyznę, niż ci, co będą kochali Stany Zjednoczone całej Ziemi. Miałem tuż obok siebie przykład matki, której pani de Cambremer i pani de Guermantes nigdy nie mogły skłonić do tego, żeby wzięła udział w jakiejś akcji filantropijnej, w parriotycznym bazarze, w jakiegokolwiek karocie<sup>1346</sup> lub patronażu. Nie chcę twierdzić, aby miała rację, działając jedynie wówczas, kiedy ją wołało serce, i zachowując dla rodziny, dla domowników, dla nieszczęśliwych, których przypadek sprowadził na jej drogę, skarby miłości i szlachetności; ale wiem, że te skarby, jak u babki, były niewyczerpane i o wiele przekraczały wszystko, co mogły zrobić i zrobiły kiedykolwiek panie de Guermantes lub de Cambremer. Charakter królowej Neapolu był zgoła odmienny, ale trzebaż się z tym pogodzić, że pojmowała sympatyczne istoty wcale nie w stylu powieści Dostojewskiego (które Albertyna znalazła w mojej bibliotece i zagarnęła), gdzie mają fizjonomie oblesnych pieczeniarzy, złodziejów, pijaków, płaskich, to znów zuchwałych, rozpustnych, w potrzebie morderców. Zresztą, ostateczności spotykają się: tutaj człowiekiem szlachetnym, bliskim, znieważonym, krewniakiem potrzebującym obrony był pan de Charlus, to znaczy, mimo jego urodzenia i wszystkich pokrewieństw z królową, ktoś, czyje cnoty sąsiadowały z przywarami.

— Niedobrze wyglądasz, kuzynie — rzekła do pana de Charlus. — Oprzyj się na moim ramieniu. Bądź pewny, że zawsze cię ono podeprze. Dostyc jest silne na to. — Potem, podnosząc dumnie oczy i spoglądając (opowiedział mi to Ski) wprost na panią Verdurin i na Morela, dodała: — Wiesz, że niegdyś w Gaecie umiało ono trzymać w respekcie kanalię. Potrafi ci posłużyć za szaniec.

I w ten sposób, prowadząc pod ramię barona i nie pozwoliwszy przedstawić sobie Morela, wyszła wspinała siostra cesarzowej Elźbiety.

Można było przypuszczać, sądząc po straszliwym charakterze pana de Charlus, po terrorze, jakim gnębił nawet krewnych, że będzie w następstwie tego wieczoru ścigał swoją wściekłością Verdurinów i stosował wobec nich represje. Widzieliśmy, czemu nie stało się to od razu. Następnie baron, zaziębiwszy się w jakiś czas potem i dostawszy zakaźnego zapalenia płuc, które srożyło się w owym czasie, długo był, wedle uznania lekarzy i własnego poczucia, o włos od śmierci, pozostając przez kilka miesięcy w największym niebezpieczeństwie. Czy to była po prostu metastaza<sup>1347</sup> fizyczna, zastąpienie innym cierpieniem neurozy, która wyładowywała się dotychczas w atakach furii? Bo zbyt proste byłoby przyjąć, że baron, który nigdy nie brał serio, z towarzyskiego punktu widzenia, Verdurinów, zrozumiawszy w końcu rolę, jaką odegrali, nie mógł mieć do nich pretensji, jakie by miał do równych sobie; zbyt proste również byłoby przypominać, że nerwowcy, burząc się z lada okazji na urojonych i niewinnych wrogów, stają się bezsilni, z chwilą gdy ktoś podejmie przeciw nim ofensywę. Snadziej uspokaja się ich, tryskając im zimną wodę w twarz, niż starając się wykazać czczość ich uraz. I zapewne nie w jakiejś metastazie trzeba szukać tego braku reakcji, ale w samej chorobie. Zmęczyła barona tak, że mało zostawało mu sił na myślenie o Verdurinach. Był na wpół umierający. Wspominałem o ofensywie; nawet te ofensywy, które będą miały skutek jedynie pośmiertny, wymagają, jeżeli się je chce przyzwoicie „zmontować”, poświęcenia części swoich sił. Zbyt mało zostawało ich panu de Charlus na taki wysiłek. Mówi się o śmiertelnych wrogach, którzy otwierają oczy, aby się ujrzeć wzajem w momencie śmierci, i zamykają je szczęśliwi. To musi być rzadkie, chyba że nas śmierć zaskoczy w pełni życia. Przeciwnie, w chwili kiedy człowiek nie ma już nic do stracenia, nie szuka ryzyka, które podjąłby lekko w pełni sił.

<sup>1345</sup>torys — członek powstałego pod koniec XVII w. angielskiego stronnictwa politycznego, wspierającego silną władzę królewską, interesy ziemiaństwa i Kościoła; w 1834 stronnictwo przekształciło się w Partię Konserwatywną, potocznie nadal nazywaną torysami. [przypis edytorski]

<sup>1346</sup>karota (daw.) — zbieranie datków na cele dobroczynne, kwesta. [przypis edytorski]

<sup>1347</sup>metastaza (med.) — przerzut (np. nowotworowy). [przypis edytorski]

Duch zemsty stanowi część życia, opuszcza nas najczęściej na progu śmierci — mimo wyjątków, które, jak to ujrzymy, tworzą częste sprzeczności nawet w jednym charakterze ludzkim. Przypomniawszy sobie na chwilę Verdurinów, pan de Charlus czuł się zbyt znudzony, obracał się do ściany i nie myślał już o niczym. Jeżeli często milczał w ten sposób, to nie dlatego, aby stracił swadę. Płynęła jeszcze niby ze źródła, ale zmieniła się. Oderwana od wybuchów, które krasila tak często, stała się wymową niemal mistyczną, którą upiększały kojące słowa ewangelii, pozorna rezygnacja śmierci. Wymowny był zwłaszcza w dniach, w których sądził, że jest ocalony. Recydywa pogrążała go w milczeniu. Chrześcijańska słodycz, w którą wysublimowała się wspaniała porywczność barona (jak u Racine'a<sup>1348</sup> w Esterę tak odmienny duch Andromaki) budziła podziw otoczenia. Byłaby wzbudziła podziw samych Verdurinów, każąc im ubóstwiać człowieka, którego wady zrodziły ich nienawiść. Zapewne wypływały na wierzch myśli mające tylko pozór chrześcijański. Baron błagał archanioła Gabriela, aby mu oznajmił, jak prorokowi, kiedy przyjdzie do niego Mesjasz. I przerywając sobie słodkim, ale bolesnym uśmiechem, dodawał:

— Ale nie chciałbym, żeby archanioł kazał mi, jak Danielowi, czekać cierpliwie „siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie”<sup>1349</sup>, bo wcześniej umrę.

Tym, którego tak czekał, był Morel. Toteż baron prosił archanioła Gabriela, żeby mu przyprowadził, jak młodego Tobiasza<sup>1350</sup>. I przechodząc do bardziej ludzkich metod (niby chory papież, który każąc odprawiać msze, nie zaniedbuje wezwać lekarza), podsuwał odwiedzającemu, że gdyby Brichot przywiódł mu szybko młodego Tobiasza, może archanioł Gabriel zgodziłby się wrócić mu wzrok jak ojcu Tobiasza lub jak w świętej sadzawce Betsaidy<sup>1351</sup>. Ale mimo tych zbyt ludzkich nawrotów niemniej czystość moralna odezwać się pana de Charlus stała się uroczą. Próżność, obmowa, szal złości i pychy — wszystko znikło. Moralnie pan de Charlus wzniósł się o wiele ponad poziom, na którym żył niegdyś. Ale ta doskonałość, co do której wymowa barona zdolna była poniekąd omamić wzruszonych słuchaczy, ta doskonałość znikła wraz z chorobą, na której tle się rozwinęła. Pan de Charlus stoczył się po pochyłości z rosnącą, jak to ujrzymy, chyżością. Ale scena u Verdurinów była już tylko dość odległym wspomnieniem, któremu doraźniejsze gniewy nie pozwoliły wskresnąć.

Cofnijmy się do wieczoru Verdurinów. Kiedy państwo zostali sami, Verdurin rzekł:

— Czy wiesz, dokąd poszedł Cottard? Jest u Saniette'a, którego manewr giełdowy, mający go ocalić, spalił na panewce. Wyszedłszy od nas i przed chwilą wróciwszy do siebie, dowiadując się, że nie ma już ani franka, a ma blisko milion długów, Saniette dostał ataku.

— Ale też po co grał; idiotyczne, to człowiek najmniej stworzony do tego! Sprytniejsi dają się oskubać, a on był przeznaczony na to, aby go każdy wykierował.

— Ależ rozumie się, od dawna wiemy, że to idiota — rzekł Verdurin. — Ale ostatecznie stało się. Jutro gospodarz wyrzuci go na bruk, znajdzie się w ostatniej nędzy; rodzina nie lubi go, a z pewnością nie Forcheville mu dopomoże! Toteż pomyślałem... wiesz, ja nie chcę nic zrobić, co by ci się miało nie podobać, ale moglibyśmy może zapewnić mu niedużą rentę, tak aby nie odczuł zbyt swojej ruiny, aby się mógł leczyć u siebie w domu.

— Ależ najchętniej; to bardzo ładnie, żeś o tym pomyślał. Ale ty mówisz: „u siebie w domu”; ten głupiec zatrzymał mieszkanie za drogie, to niemożliwe, trzeba by mu znaleźć jakieś dwa pokoiki. Zdaje się, że on wciąż ma apartament za jakieś sześć czy siedem tysięcy.

<sup>1348</sup>Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — wybitny francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych; do jego dzieł należą m.in. *Andromacha* (1667) i *Ester* (1689). [przypis edytorski]

<sup>1349</sup>siedem tygodni i sześćdziesiąt dwa tygodnie — Dn 9, 25 (czas, jaki wg objaśnienia wizji proroka Daniela przekazano mu przez archanioła Gabriela miał upłynąć pomiędzy ogłoszeniem powrotu wygnańców żydowskich do kraju i odbudowy Jerozolimy a pojawieniem się Władcy-Pomazańca, Mesjasza). [przypis edytorski]

<sup>1350</sup>Tobiasz — postać biblijna, bohater *Księgi Tobiasza*: na polecenie ojca, który utracił wzrok, wyruszył do Medii odebrać dług; w podróży towarzyszył mu Azariasz, który namówił go do ślubu z Sarą, pomógł w uwolnieniu jej od złego ducha i przekazał mu sposób, w jaki może uzdrowić ślepotę ojca; po powrocie Azariasz okazał się zesłanym przez Boga aniołem Rafałem. [przypis edytorski]

<sup>1351</sup>sadzawka Betsaidy — *Betesda*, biblijny zbiornik wodny w Jerozolimie, miejsce uzdrowień znane z J 5, 2–5; kiedy anioł zstępował do tej sadzawki i poruszał jej wody, nabierały one własności uzdrawiających; w starożytnych manuskryptach ewangelii wg Jana występuje pod nazwą *Bethesda*, *Bethzatha* lub *Bethsaida*. [przypis edytorski]

— Sześć tysięcy pięćset. Ale on jest bardzo przywiązany do tego mieszkania. Ostatecznie, miał już pierwszy atak, nie pożyje więcej niż dwa, trzy lata. Przypuśćmy, że wydamy na niego dziesięć tysięcy rocznie przez trzy lata. Sądzę, że możemy sobie na to pozwolić. Moglibyśmy na przykład w tym roku zamiast wynająć la Raspeliere wziąć coś skromniejszego. Przy naszych dochodach myślę, że te dziesięć tysięcy franków przez trzy lata są w granicach możliwości.

— Przypuśćmy, ale to ma tę złą stronę, że się rozgłosi, nałoży na nas obowiązek robienia tego samego dla innych.

— Zgadujesz, że pomyślałem o tym. Zrobię to jedynie pod wyraźnym warunkiem, żeby nikt o tym nie wiedział. Ślicznie dziękuję, nie mam ochoty, żebyśmy awansowali na dobroczyńców rodzaju ludzkiego. Żadnej filantropii! Można by po prostu powiedzieć, że mu to zapisała księżna Szerbatow.

— Ale czy uwierzy? Radziła się Cottarda w sprawie testamentu.

— W ostateczności można by Cottarda przypuścić do sekretu; przywykł do tajemnicy zawodowej, zarabia masę pieniędzy, to nie będzie nigdy jeden z pasażerów, za których trzeba bulić. Może on sam się zgodzi powiedzieć Saniette'owi, że księżna użyła go za pośrednika. W ten sposób my byśmy nawet nie figurowali w tej sprawie. To by nam oszczędziło piły scen wdzięczności, wylewów, frazesów.

Verdurin dodał tu jakieś słowo wyrażające najoczywiściej ten rodzaj wzruszających scen i frazesów, których chciałby uniknąć. Ale nie powtórzono mi go wiernie, bo nie było francuskie; to było jedno z owych wyrażen zdomowionych w pewnych rodzinach na oznaczenie pewnych rzeczy, zwłaszcza rzeczy drastycznych, prawdopodobnie dlatego, aby je móc nazywać bezpiecznie w obecności zainteresowanych. Ten rodzaj wyrażen bywa szczątkiem dawnego charakteru jakiejś rodziny. W rodzinie żydowskiej na przykład będzie to termin rytualny użyty w nowym sensie; może jedyne słowo hebrajskie, jakie ta rodzina, zupełnie zasymilowana, zna jeszcze. W rodzinie wybitnie prowincjonalnej będzie to szczątek lokalnego narzecza, mimo że rodzina nie mówi już narieczem i nawet go nie rozumie. W rodzinie pochodzącej z południowej Ameryki, a mówiącej tylko po francusku, będzie to słowo hiszpańskie. W następnym pokoleniu słowo to przetrwa już tylko jako wspomnienie z dzieciństwa. Przypomnimy sobie, że rodzice, wymawiając przy stole jakieś słowo, robili aluzję do służby, tak aby służba nie rozumiała; ale dzieci nie wiedzą, co znaczyło ściśle to słowo, czy było hiszpańskie, hebrajskie, niemieckie, gwarowe, czy nawet w ogóle należało do jakiegoś języka, czy to nie było imię własne lub słowo sztucznie ukute? Wątpliwość można rozstrzygnąć jedynie wtedy, kiedy się ma jakiegoś dziadka, wuja, żyjącego jeszcze starego krewniaka, który się musiał posługiwać tym samym słowem. Ponieważ nie znałem żadnego krewniaka Verdurinów, nie mogłem ściśle odtworzyć tego słowa. Tyle jest pewne, że musiało ono wywołać uśmiech pani Verdurin, bo użytek owego języka, mniej powszechnego, bardziej osobistego i tajemnego niż język zwyczajny, daje tym, co się nim posługują samolubne uczucie, niepozbawione zadowolenia.

Skoro przeszła chwila wesołości, pani Verdurin rzekła:

— Ale jeżeli Cottard wypaple?

— Nie wypaple.

Wypaplał — przede mną przynajmniej, bo przez niego właśnie dowiedziałem się o tym fakcie w kilka lat później na pogrzebie Saniette'a. Żałowałem, że tego nie wiedział wcześniej. Po pierwsze szybciej by mi to uświadomiło, iż nigdy nie trzeba mieć pretensji do ludzi ani sądzić ich ze wspomnienia jakiejś ich niegodziwości, nie wiemy bowiem, co w innych momentach mogli postanowić w duszy i uczynić dobrego. Niewątpliwie zło, któreśmy stwierdzili nieodwołalnie, powróci, ale dusza jest o wiele bogatsza, ma wiele innych form, również powtarzających się u tych ludzi, do których uprzedzamy się na zasadzie ich złego uczynku. Następnie, z bardziej osobistego punktu, rewelacja Cottarda, gdyby ją uczynił wcześniej, nie pozostałaby bez wpływu na mnie. Zmieniając mój sąd o Verdurinach, rozproszyłaby moje podejrzenia co do ich możebnej roli między Albertyną i mną; rozproszyłaby je może zresztą niesłusznie. Bo jeżeli pan Verdurin, którego uważałem coraz to więcej za najgorszego człowieka, miał swoje zalety, był to jednak spryka, okrutny w swojej dokuczliwości oraz tak zazdrosny o władzę w swoim kółku, że się nie cofał przed najgorszym kłamstwem, podsycił najniedorzeczniejsze nienawiści, aby rwać

między „wiernymi” więzy niemające za jedyne cel wzmocnienia „paczki”. Był to człowiek zdolny do cichej bezinteresowności i hojności, co niekoniecznie znaczy człowiek uczuciowy ani sympatyczny, ani skrupulatny, ani prawdomówny, ani zawsze dobry. Dobroć cząstkowa, wzięta po trosze w spadku po rodzinie zaprzyjaźnionej z moją cioteczną babką, prawdopodobnie istniała w nim wtedy, zanim ją poznałem, jak Ameryka lub biegun północny istniały przed Kolumbem lub Pearym<sup>1352</sup>. Niemniej w chwili mego odkrycia natura pana Verdurin odsłoniła mi nową niepodjęwaną fizjonomię; i pojąłem trudność ustalenia obrazu zarówno jakiegoś charakteru, jak społeczeństw i namiętności. Charakter zmienia się bowiem nie mniej od nich i jeżeli chcemy sfotografować to, co w nim jest stosunkowo niezmiennie, ukazuje zakłopotanej soczewce kolejno rozmaite fizjonomie (z tym jeszcze, że ów przedmiot nigdy nie jest nieruchomy, ale się rusza).

## ROZDZIAŁ TRZECI. ZNIKNIĘCIE ALBERTYNY

Wychodząc z wieczoru u Verduirinów bardzo późno, w obawie, aby się Albertyna nie znudziła, poprosiłem Brichota, żeby mnie wysadził przed domem, po czym mój fiaker odwiezie go. Powinnował mi (nie wiedząc, że czeka na mnie młoda dziewczyna), że wracam wprost do domu, że tak wcześniej i rozsądnie kończę wieczór, którego przeciwnie, opóźniłem jedynie istotny początek. Potem zaczął mówić o panu de Charlus. Baron byłby zapewne zdumiony, słysząc jak profesor, tak dlań serdeczny, profesor, który stale głosił zasadę: „Nigdy nic nie powtarzam”, mówi o nim i o jego życiu bez najmniejszych ogródek. A zdumienie i oburzenie Brichota byłoby może nie mniej szczerze, gdyby mu pan de Charlus powiedział: „Zapewniano mnie, że pan źle mówi o mnie”. Brichot lubił w istocie pana de Charlus i gdyby sobie uprzytomnił jakąś swoją rozmowę na temat barona, raczej przypominałby sobie uczucia własnej sympatii niż treść słów, podczas gdy mówił o nim to samo co cały świat. Nie poczuwałby się do kłamstwa, zapewniając: „Ja, który mówię o panu z taką przyjaźnią!”, skoro w istocie odczuwał nieco przyjaźni, mówiąc o baronie. Baron miał zwłaszcza dla Brichota urok, którego przede wszystkim profesor szukał w życiu światowym, polegający na oglądaniu w autentycznym egzemplarzu tego, co długo mógł uważać za wymysł poetów. Brichot, który często wykladał drugą *Sielankę* Wergilego, nie bardzo wiedząc, czy ta fikcja ma jaki podkład realny, znajdował na starość w rozmowie z panem de Charlus trochę owej przyjemności, którą mistrze jego, panowie Mérimée<sup>1353</sup> i Renan, oraz jego kolega pan Maspero<sup>1354</sup>, podróżując po Hiszpanii, Palestynie lub Egipcie, czerpali z dzisiejszych krajobrazów i ludów Hiszpanii, Palestyny i Egiptu, poznając ramę i niezmiennych aktorów starożytnych scen będących przedmiotem ich studiów książkowych.

— Bez obrazu tego szlachetnego rycerza — oświadczył Brichot, jadąc ze mną powozem — powiedzmy, że on jest po prostu bajeczny, kiedy komentuje swój sataniczny katechizm z werwą trochę kołową, z naiwnością dziecięcia, a uporem reakcjonisty. Zapewniam pana, jeżeli mi wolno się wyrazić jak jego dostojność biskup Hulst, że się nie nudzę w dni, kiedy mnie odwiedza ten feudal, który chcąc bronić Adonisa<sup>1355</sup> przeciw naszej epoce niedowiarków, podał się instynktom swojej rasy i stał się krzyżowcem Sodomu.

Słuchałem Brichota i nie byłem z nim sam. Od chwili zresztą kiedy opuściłem dom, czułem się tajemniczymi nićmi związany z młodą dziewczyną, która znajdowała się w tej chwili w swoim pokoju. Nawet kiedy rozmawiał z którymś z gości Verdurinów, czułem ją mętnie przy sobie, miałem mgliste poczucie Albertyny, tak jak się ma poczucie

<sup>1352</sup>Peary, Robert Edwin (1856–1920) — amerykański oficer marynarki, badacz polarny, zdobywca bieguna północnego (6 IV 1909). [przypis edytorski]

<sup>1353</sup>Mérimée, Prosper (1803–1870) — francuski dramaturg, pisarz i archeolog; w 1830 odbył podróż do Hiszpanii, z której po powrocie do Paryża publikował żywe relacje w „Revue de Paris” (*Lettres d’Espagne*, 1831). [przypis edytorski]

<sup>1354</sup>Maspero, Gaston (1846–1916) — francuski egiptolog i archeolog; od 1880 dyrektor francuskiej misji archeologicznej w Egipcie; autor m.in. dzieła *Histoire ancienne des peuples de l’Orient classique* (t. 1–3, 1895–1897). [przypis edytorski]

<sup>1355</sup>Adonis (mit. gr.) — otaczany kultem piękny młodzieniec, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. Na skutek sprzeczki bogów Adonis zginął stratowany przez dziką, po czym został wskrzeszony przez Zeusa. Kult Adonisa dotarł do Grecji w okresie archaicznym z terenów bliskowschodnich, jego śmierć i zmartwychwstanie odzwierciedlały cykliczne zmiany w przyrodzie. [przypis edytorski]

własnych członków; kiedy zaś zdarzyło mi się pomyśleć o niej, czyniłem to tak, jak się myśli o własnym ciele, z przykrym poczuciem swojej zupełnej niewoli.

— I co za magiel — podjął Brichot — rozmowa tego apostoła, zdolna zasilić wszystkie przypisy do *Causeries du lundi*<sup>1356</sup>! Pomyśl pan, dowiedziałem się od niego, że pewien traktat o etyce, w którym czytałem zawsze najwspanialszą konstrukcję moralną naszej epoki, zrodził się pod piórem mego czcigodnego kolegi X z natchnienia młodego listonosza. Nie wahajmy się uznać, że mój znamienity przyjaciel nie raczył wydać nam w trakcie swoich wywodów nazwiska tego efeba<sup>1357</sup>. Okazał w tym więcej obyczajności, lub jeśli pan woli mniej wdzięczności, niż Fidiasz<sup>1358</sup>, który wypisał imię umiłowanego atlety na pierścieniu swego *Jowisza Olimpijskiego*. Baron nie znał tej historii. Domyśla się pan, jak zachwycała jego ortodoksję. Łatwo sobie pan wyobrazi, że za każdym razem kiedy będę dyskutował z moim kolegą jakąś doktorską tezę, znajdę w dialektyce barona, zresztą bardzo subtelnej, tę samą zaprawę, jakiej pikantne rewelacje użyły w oczach Saint-Beuve'a nie dość skwapliwemu w zwierzeniach dziełu Chateaubrianda. Od naszego kolegi, którego mądrość jest złota, ale który posiadał sam tego złota zbyt mało, listonosz przeszedł do rąk barona — och, „bez cienia złej myśli” (trzeba słyszeć ton, jakim on to mówi!). A że ten Szatan jest najuczynniejszy z ludzi, uzyskał dla swego protegowanego miejsce w koloniach, skąd ów, wdzięczna dusza, przesyła mu od czasu do czasu wyborne owoce. Baron ofiarowuje je swoim dostojnym znajomym; ananasy młodego człowieka figurowały świeżo na stole Quai Conti, wyrrywając pani Verdurin, tym razem bez złośliwości, słowa: „Pan ma chyba jakiegoś wujaszka czy siostrzeńca w Ameryce, żeby dostawać podobne ananasy”. Wyznaję, że gdybym wówczas wiedział prawdę, byłbym je jadł z niejaką wesołością ducha, recytując sobie *in petto*<sup>1359</sup> początek ody Horacego, którą lubił przypominać Diderot<sup>1360</sup>. W sumie, jak mój kolega Boissier<sup>1361</sup>, wędrując od Palatynu do Tiburu, czerpię z rozmów z baronem o wiele żywsze i soczystsze pojęcie o pisarzach wieku Augusta<sup>1362</sup>. Nie mówmy nawet o epoce dekadencji i nie sięgajmy do Greków, mimo iż powiedziałem zacnemu baronowi, że przy nim sam się czuję Platonem u Aspazji<sup>1363</sup>. Co prawda osobiście powiększyłem proporcje obu postaci; mój przykład, jak powiada La Fontaine, zacerpnięty był „z mniejszych bydłatek”. Jak bądź się rzeczy mają, nie przypuszcza pan zapewne, aby się baron czuł dotknięty. Nigdy go nie widział równie rozanielonym. Dziecinne upojenie wyrwało go z arystokratycznej flegmy. „Co za pochlebcy, wszyscy ci sorbonardzi! — wykrzyknął zachwycony. — Pomyśleć, że musiałem dożyć swoich lat, aby mnie ktoś porównał z Aspazją! Taka stara malatura jak ja! O, moja młodości!”. Chciałbym, żeby go pan widział, kiedy to mówił, skandalicznie wypudrowany, swoim zwyczajem, i — w swoim wieku! — wypizmowany jak lalusz. Poza tym, poza swoją manią genealogiczną najlepszy człowiek w świecie. Z wszystkich tych przyczyn byłbym w rozpacz, gdyby dzisiejsze zerwanie miało być ostateczne. Bądź co bądź zdziwił mnie sposób, w jaki ten młody człowiek stanął dęba. On przecież okazywał od jakiegoś czasu wobec barona wierność seida<sup>1364</sup>, powolność lennika, nie zwiastujące

<sup>1356</sup>*Causeries du lundi* (fr.: Pogawędki poniedziałkowe) — cykl kilkuset cotygodniowych felietonów na tematy literackie i krytycznych portretów literackich autorstwa Charlesa Augustina Sainte-Beuve, publikowanych w latach 1849–1869 w kilku paryskich gazetach, zebranych później w kolejnych tomach *Causeries du lundi* (t. 1–16, 1851–62), *Nouveaux lundis* (t. 1–13, 1863–70), *Premiers lundis* (t. 1–3, 1874–75). [przypis edytorski]

<sup>1357</sup>*efeb* (gr.) — pot. piękny młodzieniec; w staroż. Grecji młodzieniec u progu dorosłości, 18–20 letni, przechodzący obowiązkowe szkolenie wojskowe (efebie), które poprzedzało uzyskanie pełnego obywatelstwa. [przypis edytorski]

<sup>1358</sup>*Fidiasz* (490–430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego; autor m.in. posągów Ateny Promachos i Ateny Partenos na ateńskim Akropolu oraz posągu Zeusa w Olimpii, zaliczanego do siedmiu cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

<sup>1359</sup>*in petto* (wl.) — w głębi serca; prywatnie. [przypis edytorski]

<sup>1360</sup>*Diderot, Denis* (1713–1784) — francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubuś Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

<sup>1361</sup>*Boissier, Gaston* (1823–1908) — francuski uczonec, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>1362</sup>*August a. Oktawian August*, właśc. *Gaius Iulius Caesar Octavianus* (63 p.n.e.–14 n.e.) — pierwszy cesarz rzymski; po okresie wojen domowych zapoczątkował epokę pokoju wewnętrznego i dobrobytu, zreformował armię i finanse, patronował rozbudowie i upiększaniu Rzymu, był opiekunem literatury. [przypis edytorski]

<sup>1363</sup>*Aspazja z Miletu* (ok. 470–ok. 400 p.n.e.) — wpływała kochanka (później zapewne żona) ateńskiego przywódcy Peryklesa; słynęła z urody, wykształcenia i inteligencji, jej dom stanowił intelektualne centrum Aten, gdzie spotykali się najznakomitsi pisarze i myśliciele. [przypis edytorski]

<sup>1364</sup>*seid* — tu z fr. *séide* (znaczenie, które trafiło do jęz. francuskiego za sprawą powiastki Woltera): osoba, która wykazuje ślepe, fanatyczne oddanie panu, przywódcy lub sekcie; w jęz. polskim *seid*: w islamie tytuł potomków

wcale podobnego buntu. Mam nadzieję, że w każdym razie, nawet gdyby (*Dii, omen avertant*<sup>1365</sup>) baron nie miał już wrócić na Quai Conti, schizma ta nie rozciągnie się na mnie. Zbyt wiele zyskujemy obaj na wymianie mojej słabej wiedzy i jego doświadczenia. — Ujrzymy, iż jeżeli pan de Charlus, na próżno spodziewając się, że mu Brichot sprowadzi Morela, nie okazał profesorowi gwałtownej urazy, w każdym razie sympatia jego opadła na tyle, żeby mu pozwolić sądzić Brichota bez żadnej pobłażliwości. — I przysięgam panu, mimo iż wymiana jest tak bardzo nierówna, wówczas kiedy mi baron udziela tego, czego go nauczyło życie, nie umiałbym się zgodzić z Sylwestrem Bonnard<sup>1366</sup>, że najlepiej jeszcze w bibliotece śni się sen istnienia.

Przybyliśmy przed bramę. Wysiadłem, aby podać woźnicy adres Brichota. Widziałem z chodnika okno Albertyny, to okno niegdyś zawsze ciemne wieczorem, kiedy nie mieszkała u mnie; obecnie elektryczne światło z wewnątrz, paskowane listwami żaluzji, prążkowało je całe równoległymi smugami złota. To czarodziejskie pismo, jasne dla mnie i kreśląc memu spokojnemu umysłowi ściśle i bliskie obrazy, w których posiadanie miałem wejść za chwilę, było niewidzialne dla Brichota, który został w dorożce, prawie ślepy; tak samo zresztą byłoby niezrozumiałe dlań, gdyby widział. Jak przyjaciele odwiedzający mnie przed obiadem, kiedy Albertyna wracała ze spaceru, i profesor również nie miał pojęcia, że dziewczyna całkowicie moja czeka na mnie w pokoju przyległym do mojego.

Dorożka odjechała. Stałem chwilę sam na chodniku. Niewątpliwie te jasne pręgi, którym<sup>1367</sup> widział z dołu, wydałyby się komu innemu czysto powierzchowne; ja dawałem im osobliwą konsystencję, pełnię, solidność, dzięki sensowi istniejącemu dla mnie poza nimi, w skarbie niepodejrzewanym przez innych, który tam ukryłem i z którego tryskały owe horyzontalne promienie. Tak, to był może skarb, ale skarb, dla którego wyrzekłem się wolności, samotności, myśli. Gdyby Albertyny nie było na górze, a nawet gdyby mi chodziło tylko o rozkosz, szukałbym jej u nieznanach kobiet, których życie próbowałbym przeniknąć, w Wenecji może, co najmniej w jakimś zakątku nocnego Paryża. Ale teraz, kiedy przychodziła godzina pieśczozy, znaczyła ona dla mnie nie podróż, nie wyjście z domu, ale powrót. A powrót nie po to, żeby znaleźć samotność i żeby opuścić innych, dostarczających nam z zewnątrz pokarmu dla myśli, musieć co najmniej szukać jej w samym sobie; przeciwnie, mniej samotny niż na wieczorze u Verdurinów, mając się znaleźć z osobą, na której rzecz zabdykowałem z własnej osobowości, której oddałem ją całkowicie, bez możliwości pomyślenia przez chwilę o sobie, nawet bez wysiłku myślenia o niej, skoro będziemy razem. Tak iż podnosząc ostatni raz oczy na okno pokoju, w którym się miałem znaleźć za chwilę, miałem uczucie, że widzę świetlną kratę, która się zamknie za mną, a której złote sztaby sam wykułem na wiekuistą niewolę.

Zręczyny nasze miały coś z procesu i zrodziły w Albertynie trwożliwość przestępcy. Zmieniała obecnie rozmowę, kiedy chodziło o jakieś osoby, mężczyzn, kobiety, o ile to nie byli starzy ludzie. O to, co chciałem wiedzieć, należało ją pytać wówczas, kiedy nie podejrzewała jeszcze, że jestem zazdrosny. Trzeba korzystać z tych czasów! Wówczas kochanka nasza opowiada nam swoje przyjemności, nawet sposoby, w jakie ukrywa je innym. Nie przyznałaby mi się teraz jak w Balbec (częścią dlatego, że to była prawda, częścią dla usprawiedliwienia się, że nie jest dla mnie tkliwsza, bo już ją męczyłem wówczas i widziała z mojej czułości, że nie potrzebuje mi jej okazywać tyle co innym, aby jej uzyskać więcej niż od innych), nie wyznałaby mi teraz jak wówczas: „Uważam, że to głupie pokazywać, że się kogoś kocha; wręcz przeciwnie, z chwilą gdy mi się ktoś podoba, udaję, że na niego nie zwracam uwagi. W ten sposób nikt nic nie wie”.

Jak to, to ona mi to powiedziała! Ta sama dzisiejsza Albertyna, ze swymi pretensjami do szczerości i do tego, że jest na wszystkich obojętna. Nie wygłosiłaby już obecnie tej zasady! Teraz w rozmowie ze mną poprzestawała na stosowaniu jej, mówiąc o kimś, kto mnie mógł niepokoić: „Och, nie wiem, nie przyglądałam się jej, jest nieinteresująca”. I od

proroka Mahometa lub, w niektórych krajach muzułmańskich, grzecznościowy tytuł muzułmanina. [przypis edytorski]

<sup>1365</sup>*Dii, omen avertant* (łac.) — bogowie, oddalacie złą wróżbę. [przypis edytorski]

<sup>1366</sup>*Sylwester Bonnard* — główny bohater powieści Anatola France'a *Zbrodnia Sylwestra Bonnard* (1881): historyk i filolog, żyjący wśród książek. [przypis edytorski]

<sup>1367</sup>*którem widział* — konstrukcja ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które widziałem. [przypis edytorski]

czasu do czasu, aby uprzedzić coś, czego się mogłem dowiedzieć, czyniła owe wyznania, już samym akcentem zdradzając kłamstwo, zanim jeszcze poznamy rzeczywistość, którą zwierzenia te mają przeinaczyć, usprawiedliwić.

Albertyna nigdy się nie zdradziła, że mnie podejrzewa, iż jestem o nią zazdrosny, baczny na wszystko, co robi. Jedyne słowa, dość dawne co prawda, które wymieniliśmy na temat zazdrości, zdawały się dowodzić czegoś przeciwnego. Przypominałem sobie, że w piękny wieczór księżycowy, na początku naszych stosunków, jednego z pierwszych dni, kiedy ją odprowadziłem i kiedy z równą przyjemnością byłbym ją opuścił, aby gonić za innymi, rzekłem: „Wiesz, jeżeli cię chcę odprowadzić, to nie przez zazdrość; jeżeli masz jakieś plany, oddał się dyskretnie”. A ona odpowiedziała: „Och, wiem, że nie jesteś zazdrosny i że ci to wszystko jedno; ale nie mam żadnych planów, tylko być z tobą”. Innym razem było to w La Raspeliere, gdzie pan de Charlus, zerkając na Morela, ostentacyjnie nadskakiwał Albertynie; powiedziałem: „I co, bardzo ci nadskakiwał?”. I dodałem w pół ironicznie: „Cierpiałem męki zazdrości”. Albertyna, posługując się językiem właściwym czy to pospolitej sferze, z której wyszła, czy jeszcze pospolitszej, w której się obracała, rzekła: „Co ty robisz za siuchy! Wiem, że nie jesteś zazdrosny. Po pierwsze powiedziałeś mi to, a po wtóre to się widzi, och!”. Nigdy nie okazała od tego czasu, aby zmieniła zdanie; musiało się w niej jednak wytworzyć w tej mierze wiele nowych pojęć, które mi ukrywała, ale które przypadek mógł zdradzić, bo tego wieczora, kiedy za powrotem, ściągawszy ją do swojego pokoju, powiedziałem (z pewnym zakłopotaniem, którego sam nie rozumiałem, bo przecie oznajmiłem Albertynie, że wychodzę, i powiedziałem, że nie wiem dokąd, może do pani de Villeparisis, może do pani de Guermantes, może do pani de Cambremer; prawda, że właśnie nie wymieniałem Verdurinów): „Zgadnij, skąd wracam; od Verdurinów”, ledwo miałem czas to wymówić, Albertyna ze zmienioną twarzą rzuciła mi w odpowiedzi te słowa, eksplodujące z niej z niepowstrzymaną siłą:

— Domyślałam się tego.

— Nie wiedziałem, że moja wizyta u Verdurinów sprawi ci przykrość.

Nie powiedziała co prawda, że jej to sprawiło przykrość, ale to było widoczne; co prawda i ja sobie nie powiedziałem tego, że jej to sprawi przykrość. Mimo to, wobec wybuchu jej gniewu, jak wobec owych wypadków, które w rodzaju wstecznego jasnovidzenia oglądamy niby coś już znanego w przeszłości, zdawało mi się, że nie mogłem się spodziewać czego innego.

— Przykrość? Gwiżdżę na to. To mi jest naj-ab-so-lut-niej wszystko jedno. Czy nie miało tam być panny Vinteuil?

Na te słowa, rzekłem wzburzony, aby okazać, że wiem więcej, niż ona myśli:

— Nie powiedziałaś mi, żeś ją spotkała kiedyś.

Myśląc, iż osobą, której zatajenie jej wymawiam, jest pani Verdurin (gdy ja miałem na myśli pannę Vinteuil), Albertyna rzuciła w przestrzeń: „Czy ja ją spotkałam?”, mówiąc to równocześnie do siebie samej, tak jakby się starała zebrać wspomnienia, i do mnie, jak gdyby się ode mnie miała tego dowiedzieć; i w istocie mówiła to z pewnością po to, żebym powiedział, co wiem, a może także, aby zyskać na czasie, zanim sformułuje tę drażliwą odpowiedź. Ale jeżeli zaprzętała mnie panna Vinteuil, bardziej jeszcze pochłaniała mnie obawa, która mnie nawiedziła już wcześniej, a która teraz oświadczyła mną z całą siłą, mianowicie, że Albertyna zapagnie odzyskać wolność. Wracając, sądziłem, że pani Verdurin przechwalała się po prostu wizytą panny Vinteuil i jej przyjaciółki, tak że czułem się spokojny. Dopiero Albertyna, pytając: „Czy nie miała tam być panna Vinteuil”, dowiodła mi, że się nie mylił zrazu; ale uspokoiła mnie świadomość, że wyrzekając się bytności u Verdurinów i wybierając się do Trocadéro, Albertyna poświęciła dla mnie pannę Vinteuil. Ale racją ściągnięcia jej z Trocadéro, które zresztą opuściła dla spaceru ze mną, była obecność Lei. Pod wrażeniem tej myśli wymówiłem imię Lei; na co Albertyna, podejrzliwa, sądząc, że mi powiedziano może więcej, uprzedziła mnie i zaczęła obficie mówić, kryjąc jednak nieco czoło:

— Znam ją wybornie; wybrałyśmy się w zeszłym roku z przyjaciółkami do teatru, kiedy ona grała; po przedstawieniu byliśmy u niej w garderobie, ubierała się przy nas. To było bardzo interesujące.

Wówczas myśl moja musiała opuścić pannę Vinteuil i w rozpaczliwym wysiłku, w owym otchłannym pędzie ku niemożliwym rekonstrukcjom, uczepiła się aktorki, wieczoru, kie-



dy Albertyna była w jej garderobie. Z drugiej strony, po wszystkich jej przysięgach, i to składanych tonem tak szczerym, po tak pełnej ofercie jej wolności, jak przypuszczać, aby się w tym kryło coś złego? A jednak czyż moje podejrzania nie były niby macki skierowane ku prawdzie, skoro o ile Albertyna poświęciła mi Verdurinów, aby iść do Trocadéro, bądź co bądź u Verdurinów miała być panna Vinteuil, a w Trocadéro była Lea? Myślałem, że się niesłusznie o nią niepokoję, a jednak w tym wyznaniu, o które nie prosiłem, Albertyna zdradziła mi, że zna Leę bliżej, niż przypuszczałem w swoich obawach, i że ją widywała w okolicznościach nader podejrzanych. Bo kto ją mógł wciągnąć do tej garderoby? O ile przestawałem się dręczyć panną Vinteuil, w chwili gdy się dręczyłem Leą, tymi dwoma katami mego dnia, powodem była niemoc mego umysłu niezdolnego wyobrazić sobie zbyt wiele scen naraz lub krzyżowanie się moich nerwowych wzruszeń, których zazdrość była tylko echem. Mogłem wnioskować, że Albertyna tak samo nie należała do Lei jak do panny Vinteuil i że wierzę w Leę tylko dlatego, że przez nią cierpię jeszcze. Ale to, że moje zazdrości gasły — aby się zbudzić niekiedy, kolejno — nie znaczyło również, aby każda z nich nie odpowiadała przeciwnie jakiejś przeczuwanej prawdzie; nie należało może sobie mówić o tych kobietach: „żadna”, ale „wszystkie”. Mówię: „przeczuwanej”, bo nie mogłem być obecny we wszystkich punktach przestrzeni i czasu, w których trzeba by się znaleźć, a do tego jakież instynkt poddałby mi ich wzajemną zgodność, aby mi dać zaskoczyć tu o tej godzinie Albertynę z Leą lub z dziewczętami z Balbec, lub z przyjaciółką pani Bontemps, o którą się swego czasu ocierała, lub z młodą dziewczyną z tenisa, która ją trącała łokciem, lub z panną Vinteuil?

Muszę wyznać, że najpoważniejszym, najbardziej uderzającym objawem wydało mi się to, że Albertyna uprzedziła moje oskarżenie. Powiedziała: „Myślę, że tam była panna Vinteuil dziś wieczór”, na co ja odrzekłem możliwie najokrutniej: „Nie mówiłaś mi, żeś ją spotkała”. W ten sposób kiedy Albertyna nie była dla mnie serdeczna, zamiast jej powiedzieć, że jestem smutny, stawałem się dokuczliwy. Była chwila, że czułem do niej nienawiść, co zwiększało jedynie we mnie potrzebę zatrzymania jej.

— Zresztą — rzekłem gniewnie — jest wiele innych rzeczy, które ukrywasz, nawet najobojętniejszych; na przykład, powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec. — Dodałem: „powiedzmy mimochodem” jako uzupełnienie „nawet najobojętniejszych”, tak aby w razie gdyby Albertyna powiedziała: „A cóż było niewłaściwego w wycieczce do Balbec?”, móc odpowiedzieć: „Już sobie nie przypominam. Tak mało zwracam uwagi na to, co mi ludzie opowiadają, że mi się to myli w głowie”. I w istocie, jeśli wspominałem o jej trzydniowej wycieczce z szoferem aż do Balbec, skąd dostałem pocztówki z takim opóźnieniem, mówiłem całkiem na ślepo.

Żałowałem nawet, że tak źle wybrałem przykład, bo naprawdę ta wyprawa, w której Albertyna ledwie miała czas dojechać i wrócić, nie dopuszczała nawet czasu na przemyślenie jakiejś dłuższej nieco schadzki z kimkolwiek. Ale z tego co powiedziałem, Albertyna pomyślała, że ja wiem istotną prawdę i że jedynie ukrywałem to przed nią; była tedy przekonana od niedawna, że ja ją każę śledzić w ten czy inny sposób, że wreszcie jestem, tak czy inaczej, jak rzekła przed tygodniem Annie, „lepiej od niej samej poinformowany o jej życiu”. Toteż przerwała mi wyznaniem bardzo niepotrzebnym, bo faktem jest, że nie domyślałem się niczego. I zmiażdżyło mnie to: tak wielkie może być rozchylenie między prawdą, którą kłamczyni przekształciła, a pojęciem, jakie, w duchu jej kłamstw człowiek zakochany w kłamczynie stworzył sobie o tej prawdzie. Ledwie wymówił słowa: „Powiedzmy mimochodem, twoja trzydniowa wycieczka do Balbec”, Albertyna przerwała, mówiąc całkiem naturalnie: „Chcesz powiedzieć, że ta podróż do Balbec nigdy nie istniała? Oczywiście! I zawsze się zastanawiałam, czemu ty udawałeś człowieka, który w to wierzy? A przecież to było bardzo niewinne. Szofer chciał mieć dla siebie wolne trzy dni. Nie śmiał ci tego powiedzieć. Wówczas przez dobroć dla niego wymyśliłam rzekomą wycieczkę do Balbec. Taka już jestem! I potem na mnie spadają te historie! Wysadził mnie po prostu w Auteuil, u mojej przyjaciółki przy ulicy de l'Assomption, gdzie spędziłam trzy dni, nudząc się jak mops. Widzisz, że to nic poważnego, nie ma żadnej katastrofy. Zaczęłam się domyślać, że ty wiesz może wszystko, widząc, żeś się zaczął śmiać, kiedy z tygodniowym opóźnieniem przychodziły pocztówki. Uznaję, że to było śmieszne, lepiej było wcale nie wysyłać pocztówek. Ale to nie moja wina. Kupiłam je z góry i dałam szoferowi, zanim mnie wysadził w Auteuil, a potem ten ciołek zapomniał ich w kieszeni,

zamiast je przesłać w kopercie przyjacielowi w pobliżu Balbec, który miał je wysłać do ciebie. Oczekiwałam ich z dnia na dzień, czy przyjdą! Szofer przypomniał sobie dopiero po pięciu dniach i zamiast mi powiedzieć, ciemnego, wysłał je wprost do Balbec. Kiedy mi to powiedział, ależ mu zmyłam głowę! Niepokoić cię daremnie z winy cymbała w nagrodę za to, że siedział przez trzy dni jak w więzieniu, po to, żeby on mógł załatwić swoje rodzinne sprawy. Nie śmiałam nawet wychodzić w Auteuil z obawy, aby mnie nie widziano. Jedyne raz kiedy wyszłam, to przebrana za mężczyznę, ot, bardziej dla hecy. A mój pech, który mnie ściga wszędzie, chciał, że pierwszą osobą, na którą wpadłam, był ten Żydziak, twój przyjaciel, Bloch. Ale wątpię, abyś ty się od niego dowiedział, że podróż do Balbec istniała tylko w mojej wyobraźni, bo mam wrażenie, że mnie nie poznał”.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, zmiażdżony tyłoma kłamstwami, nie chcąc okazać zdziwienia. Z uczuciem zgrozy, które nie budziło we mnie chęci wypędzenia Albertyny — przeciwnie! — łączyła się straszliwa chęć płaczu. Tę chęć spowodowało nie samo kłamstwo i unicestwienie wszystkiego, co tak bardzo uważałem za prawdę, że się czułem niby w zrównanym z ziemią mieście, gdzie ani jeden dom nie pozostał, gdzie nagą ziemię wzdymają jedynie zgłiszczają; ale ta melancholia, że podczas trzech dni nudy u przyjaciółki w Auteuil, Albertynie nie przysłała ani razu ochota — może nawet myśl — aby spędzić po kryjomu dzień u mnie lub poprosić mnie depeszą o odwiedzenie w jej Auteuil. Ale nie miałem czasu oddać się tym myślom. Nie chciałem zwłaszcza zdradzić mego zdziwienia. Uśmiechnąłem się z miną człowieka, który wie więcej, niż mówi:

— Ależ to jest jedna rzecz pośród tysiąca. Tak na przykład owego popołudnia kiedyś poszła do Trocadéro, wiedziałas, że panna Vinteuil miała być u pani Verdurin.

Zaczerwieniła się:

— Tak, wiedziałam.

— Czy możesz przysiąc, że nie dlatego, aby z nią wznowić stosunki, chciałaś iść do Verdurinów?

— Ależ oczywiście, tak, mogę ci przysiąc. Czemu „wznówić”? Nnigdy nie było nic, przysięgam.

Byłem zgnębiony, że Albertyna tak kłamie, że przeczy oczywistości, którą rumieniec jej zdradził mi aż nadto. Fałsz jej przygnębiał mnie. A mimo to, ten fałsz, zakłęcia niewinności, w którą bezwiednie gotów byłem uwierzyć, mniej zadały mi bólu niż jej szczerość, kiedy na moje pytanie: „Czy możesz mi bodaj przysiąc, że przyjemność ujrzenia panny Vinteuil nie grała żadnej roli w chęci wizyty u Verdurinów”, odpowiedziała: „Nie, nie mogę. Spotkanie panny Vinteuil sprawiłoby mi wielką przyjemność”. Sekundę przedtem miałem do Albertyny pretensję, że mi kryje stosunki z panną Vinteuil, a teraz wyznanie przyjemności, jakiej się spodziewała, odjęło mi ręce i nogi. Zresztą tajemnica, jaką robiła z tej wizyty, powinna mi być starczyć za dowód. Ale już o tym nie dosyć myślałem. Czemu mówiąc teraz prawdę, Albertyna wyznawała mi ją tylko w połowie? — to było jeszcze bardziej głupie niż złe i smutne. Byłem tak złamany, że nie miałem odwagi nalegać na ten punkt, w którym się czułem słaby, nie mogąc przeciwstawić jej obciążającego dowodu; aby odzyskać przewagę, szybko przeszedłem na przedmiot, który by mi pozwolił pognębić Albertynę.

— Słuchaj, nie dalej niż dziś wieczór dowiedziałem się, że to, coś mi mówiła o panie Vinteuil...

Albertyna patrzyła na mnie bystro, ze zbolaną miną, starając się wyczytać w moich oczach, co ja wiem. Otóż tego, co wiedziałem i co jej miałem powiedzieć o skłonnościach panny Vinteuil, dowiedziałem się w istocie nie u Verdurinów, ale niegdyś w Montjouvain. Ale ponieważ umyślnie nigdy nie mówiłem o tym Albertynie, mogłem udawać, że wiem o tym dopiero od dziś wieczora. I po wszystkim, com wycierpiał w kolejce w Balbec, uczulem niemal radość, że posiadam to wspomnienie z Montjouvain, „postdatowane” przeze mnie, ale niemniej będące przytłaczającym dowodem, ciosem maczugi dla Albertyny. Tym razem bodaj nie potrzebowałem „robić miny, że wiem” i „ciągnąć za język” Albertyny; wiedziałem, widziałem przez oświetlone okno w Montjouvain. Na próżno Albertyna twierdziła, że jej stosunki z panną Vinteuil i jej przyjaciółką były bardzo niewinne; gdybym przysięgł (a przysięgłbym bez kłamstwa), że znam obyczaje tych kobiet, jak mogłaby twierdzić, że żyjąc z nimi tak blisko, nazywając je: „moje duże siostrzyczki”, nie była celem pokus, których odtrącenie groziłoby zerwaniem. Ale nie miałem czasu

powiedzieć tego, com wiedział. Albertyna, sądząc (jak o fałszywej wycieczce do Balbec), że ja się dowiedziałem prawdy bądź od panny Vinteuil (o ile była u Verdurinów), bądź po prostu od pani Verdurin, która mogła mówić o niej z panną Vinteuil, nie dopuściła mnie do słowa i wyznała mi rzecz wręcz przeciwną temu, co przypuszczałem. Ale wyznanie jej, dowodzące, że Albertyna nigdy nie przestała kłamać, sprawiło mi prawie tyleż przykrości, zwłaszcza że nie byłem już, jak wspomniałem przed chwilą, zazdrosny o pannę Vinteuil. Uprzedzając mnie tedy, Albertyna rzekła:

— Dowiedziałeś się zatem dziś wieczór, że skłamała, twierdząc, iż byłam prawie wychowaną przyjaciółką panny Vinteuil... To prawda, że ci trochę skłamałam. Ale czułam, że tak mało znaczę dla ciebie, widziałam, że tak cię interesuje muzyka tego Vinteuila, że ponieważ jedna z moich koleżanek — to jest prawda, przysięgam — była w przyjaźni z przyjaciółką panny Vinteuil, chciałam po prostu zrobić się interesująca w twoich oczach, zmyślając, że znałam dobrze obie. Czułam, że cię nudzę, że mnie uważasz za gęś; pomyślałam, iż przyznając się do zażyłości z tymi osobami i blagując, że mogłabym ci udzielić szczegółów o muzyce Vinteuila, nabiorę trochę uroku w twoich oczach, że to nas zbliży. Kiedy kłamię, to zawsze z czułości dla ciebie. I trzeba było tego nieszczęsnego wieczoru u Verdurinów, abyś się dowiedział prawdy, przesadzonej może zresztą. Założę się, że przyjaciółka panny Vinteuil powiedziała, że mnie nie zna. Widziała mnie co najmniej dwa razy u mojej koleżanki. Ale oczywiście, ja nie jestem dosyć szykowna dla ludzi, którzy się zrobili tacy sławni. Wolą powiedzieć, że mnie nigdy nie widzieli.

Kiedy biedna Albertyna sądziła, iż powiedzieć mi, że żyła tak blisko z panną Vinteuil, opóźniłoby jej „puszczenie kantem”, zbliżyłoby ją do mnie, dosięgła, jak to się dzieje często, prawdy inną drogą niż ta, którą zamierzyła. Jej niespodziana dla mnie kompetencja w sprawach muzyki nie byłaby mi z pewnością przeszkodziła zerwać z nią owego wieczora w kolejce; a jednak słowa, które powiedziała w tym celu, stworzyły natychmiast o wiele więcej niż niemożność zerwania. Tylko Albertyna popełniła błąd w interpretacji, nie ewentualnego skutku tych słów, ale przyczyny, dla której miały wywrzeć ten skutek; przyczyny, którą była świadomość nie jej kultury muzycznej, ale jej dwuznacznych stosunków. Tym, co mnie nagle do niej zbliżyło, co mnie głębiej w nią wtopiło, było nie oczekiwanie rozkoszy — a „rozkosz” to jeszcze za wiele, powiedzmy: lekkiej przyjemności — ale skurcz bólu.

I tym razem nie miałem czasu zbyt długo zachować milczenia, mogącego wyglądać w jej oczach na zdziwienie. Jakoż wzruszony tym, że jest tak skromna i że się uważa w sferze Verdurinów za coś niższego, rzekłem tkliwie:

— Ależ, kochanie, dałbym ci chętnie kilkaset franków, żebyś się zabawiła w szykowną damę i zaprosiła, dokąd chcesz, na elegancki obiad państwa Verdurin.

Niestety w Albertynie było kilka osób. Najbardziej tajemnicza, najprostsza, najokrutniejsza objawiła się w odpowiedzi udzielonej mi z wyrazem niesmaku, odpowiedzi, której słów po prawdzie dobrze nie zrozumiałem — nawet słów początkowych, bo nie dokończyła. Odtworzyłem je dopiero nieco później, kiedy odgadłem jej myśl. Słyszysz się wstecz, kiedy się rozumiało:

— Ślicznie dziękuję! — rzekła. — Wydawać bodaj grosz na tych starych pierników, to już wolę, abyś mi pozwolił kiedyś, żebym sobie dała zagrzać...

Ledwie to wyrzekła, twarz jej oblała się pąsem, przybrały wyraz rozpacz; Albertyna zasłoniła dłonią usta, jakby chcąc wepchnąć w nie z powrotem słowa, których wcale nie rozumiałem.

— Co ty mówisz, Albertyno?

— Nie, nic, zasypiałam po prostu.

— Ależ wcale nie, jesteś bardzo rozbudzona.

— Myślałam o tym obiedzie dla Verdurinów, to bardzo ładnie z twojej strony.

— Ale nie, ja mówię o tym, coś ty powiedziała.

Podawała mi tysiąc wersji niegodzących się wcale, nie mówię z jej słowami, które pozostały mętne, ale z samym tym urwaniem słów i z nagłym rumieńcem.

— Słuchaj, kochanie, nie to chciałaś powiedzieć, inaczej dlaczego byś urwała.

— Bo się zawstydziliłam swojej prośby.

— Jakiej prośby?

— Żeby wyprawić obiad.  
— Ależ nie, to nie to, nie ma mowy o wstydzie między nami.  
— Owszem, właśnie, nie trzeba nadużywać dobroci tych, których się kocha. W każdym razie, przysięgam ci, że to to.

Z jednej strony, nie umiałem nigdy wątpić o przysiędze Albertyny, z drugiej strony tłumaczenia jej nie zadowalały mojego rozsądku. Nie przestałem nalegać.

— Ależ wreszcie, miej odwagę dokończyć zdania, urwałaś na: „zagrzać” ...

— Och, nie, zostaw!...

— Ale czemu?

— Bo to jest strasznie ordynarne; zanadto bym się wstydziła, że to powiedziała przy tobie. Nie wiem, skąd mi do głowy przyszło to wyrażenie, którego sensu nawet nie rozumiem, a które słyszałam raz na ulicy w ustach ludzi strasznie plugawych; ot tak mi się powiedziało, ni w pięć, ni w dziewięć. To się nie odnosi ani do mnie, ani do nikogo, bredziłam po prostu.

Czułem, że nie wydobędę nic więcej z Albertyny. Skłamała, kiedy przysięgała przed chwilą, że powstrzymała ją obawa nietaktu; teraz to miał być wstyd, że się wyrwała z czymś zbyt pospolitym. Otóż to było z pewnością drugie kłamstwo. Bo w pożyciu z Albertyną nie było tak perwersyjnych i ordynarnych słów, których byśmy nie wymawiali wśród pieszczoty. W każdym razie zbyt było nalegać w tej chwili. Ale pamięć moją oblegało słowo „zagrzać”. Albertyna używała go często w różnych zwrotach, ale zwrotów tych używała potocznie przy mnie; jeżeli chciała powiedzieć coś takiego, czemu umilkła nagle, czemu się tak zaczerwieniła, zasłoniła usta ręką, przebudowała całe zdanie i kiedy spostrzegła, że usłyszał „zagrzać”, podała fałszywy sens? Ale z chwilą gdy się wyrzekał jałowego śledztwa, najlepiej było udawać, że już o tym nie myślę. Po czym wracając myślą do wymówek Albertyny za to, że poszedł do „pryncypałki”, rzekłem bardzo niezręcznie, w rodzaju głupiego tłumaczenia się: „Chciałem cię właśnie prosić, żebyś się dziś wybrała na wieczór do Verdurinów” — zdanie podwójnie niezręczne, bo gdybym chciał to zrobić, czemuż widząc ją przez cały czas, nie zaproponowałem jej tego? Wściekła o to kłamstwo i rozzuchwalona moim onieśmieleniem, odparła:

— Mógłbyś mnie prosić o to tysiąc lat, a nie byłabym się zgodziła. Ci ludzie byli zawsze przeciwko mnie, wszystko robili na przekór. Wylaźliam ze skóry z uprzejmości dla pani Verdurin w Balbec i ładnie na tym wyszłam. Gdyby mnie wzywała na łożu śmierci, nie poszłabym. Są rzeczy, których się nie darowuje. Co się tyczy ciebie, to jest pierwsze chamstwo, które mi robisz. Kiedy Franciszka powiedziała, żeś wyszedł (z jaką przyjemnością mi to powiedziała!), byłabym wolała dostać w łeb siekierą. Staralam się, aby nic nie zauważono, ale w życiu nie doznałam podobnego afrontu!

Podczas gdy Albertyna mówiła, we mnie odbywało się w żywym i twórczym śnie podświadomości szukanie tego, co ona chciała powiedzieć w urwanym zdaniu, którego koniec upierałem się poznać. W takim śnie rysują się szczegóły, które nas jedynie musnęły, uspione ręce chwytają właściwy klucz, dotąd na próżno szukany. I nagle spadło na mnie okrutne słowo, o którym wcale nie myślałem: „gwoźdź”. Nie mogę powiedzieć, aby przyszło nagle, jak wówczas gdy po długiej bierności wobec niepełnego wspomnienia, starając się łagodnie, ostrożnie, rozpostrzeć je, człowiek pozostaje jakby przygięty, przylepiony do niego. Nie, sprzecznie z moim zwykłym sposobem przypominania sobie, istniały, sądzę, dwie równoległe drogi szukania; jedna brała w rachubę nie tylko słowa Albertyny, ale jej gniewny wzrok, kiedy zaproponowałem wydanie eleganckiego obiadu; wzrok zdający się mówić: „Ślicznie dziękuję, wydawać pieniądze na coś, co mnie nudzi, kiedy bez pieniędzy mogłabym robić to, co mnie bawi!”. I może pamięć jej wzroku kazała mi zmienić metodę w szukaniu końca tego, co ona chciała powiedzieć. Dotąd hipnotyzowało mnie ostatnie słowo: „zagrzać”. Zagrzać co? Herbatę? Nie. Żelazko do prasowania? Nie. Zagrzać, zagrzać, zagrzać. I naraz spojrzenie Albertyny w chwili mojej propozycji wyprawienia obiadu, cofnęło mnie w słowa kończące jej zdanie. I natychmiast ujrzałem, że powiedziała nie: „zagrzać”, ale: „dała zagrzać”. Okropność! Więc to by wolała! Podwójna okropność, bo nawet ostatnia k...a, która zgadza się na to lub pragnie tego, nie używa z mężczyzną, który się temu poddaje, tego okropnego wyrażenia. Czułaby się zanadto poniżona. Z kobietą tylko (jeżeli ma gust do kobiet) mówi to, aby się usprawie-

dliwić, że się oddała przed chwilą mężczyźnie. Albertyna nie skłamała, mówiąc, że jest w pół przytomna. Roztargniona, impulsywna, zapominając o mojej obecności, strząsnęła przymus, odezwała się tak, jakby mówiła z jedną z „takich kobiet”, może z jedną z moich „zakwitających dziewcząt”. I nagle przywołana do rzeczywistości, czerwona ze wstydu, polykając to, co miała powiedzieć, zrozpaczona, nie chciała już rzec ani słowa. Nie miałem ani sekundy do stracenia, o ile nie chciałem, aby spostrzegła moją rozpacz. Ale już po ataku wściekłości łzy napływały mi do oczu. Jak w Balbec, w nocy po odkryciu jej zażyłości z panną Vinteuil, trzeba mi było uprawdopodobnić natychmiast moją zgryzotę, wymyślić zarazem coś zdolnego zrobić na Albertynie tak głębokie wrażenie, żeby mi to dało kilkudniową zwłokę dla powzięcia decyzji. Toteż w chwili gdy Albertyna mówiła, że nigdy nie doznała podobnego afrontu jak ten, który jej zrobiłem, wychodząc z domu, że wolałaby umrzeć niż usłyszeć o tym z ust Franciszki, kiedy jak gdyby podrażniony jej śmieszną drażliwością, miałem rzec, że mój postępek był bardzo niewinny, że wyjście moje z domu nie było niczym obraźliwym, przez ten czas, równoległe, moje podświadome dochodzenie, co ona chciała powiedzieć po słowie „zagrzać”, osiągnęło cel. Że zaś niepodobna mi było całkowicie ukryć rozpacz, w jaką wtrąciło mnie moje odkrycie, przeto zamiast się bronić, oskarżyłem się.

— Albertynko — rzekłem łagodnie, a w głosie drgały pierwsze łzy — mógłbym powiedzieć, że nie masz racji, że to, com zrobił, to jest nic; ale skłamałbym. To ty masz słuszość; zrozumiałaś, biedne dziecko, że przed pół rokiem, trzy miesiące temu, kiedy miałem jeszcze dla ciebie tyle czułości, nigdy nie byłbym tego zrobił. To jest nic, a to jest ogromnie dużo z powodu olbrzymiej zmiany w moim sercu, której to jest oznaką. A skoroś odgadła tę zmianę, którą spodziewałem się ukryć przed tobą, zmusza mnie to do powiedzenia ci (a mówię to z głęboką słodyczą i smutkiem): Albertynko, widzisz, życie, jakie tu wiesz, nudne jest dla ciebie, lepiej, żebyśmy się rozstali, że zaś najlepsze rozstanie jest najszybsze, proszę cię, dla skrócenia zgryzoty, jaką mi to sprawi, żebyś się ze mną pożegnała dziś wieczór i odeszła jutro rano, podczas gdy będę spał, tak żebyś się już nie widział.

Patrzyła zdumiona, jeszcze niedowierzająca, a już w rozpacz:

— Jak to jutro? Chcesz tego?

I mimo cierpienia, jakim było dla mnie mówić o naszym rozstaniu jak o czymś, co już wsiąkło w przeszłość — może po części z powodu tego cierpienia — zacząłem dawać Albertynie najściślejsze rady co do pewnych rzeczy, które powinna uczynić, opuściwszy mój dom. I stopniowo w tych wskazówkach zapuściłem się w najdrobiazgowsze szczegóły.

— Bądź tak dobra — rzekłem z nieskończonym smutkiem — odesłać mi książkę Bergotte’a, która została u ciotki. To nic pilnego; za trzy dni, za tydzień, kiedy zechcesz, ale pamiętaj, abym nie musiał przypominać ci tego, to by mi było zbyt przykre. Byliśmy szczęśliwi; czujemy teraz, że bylibyśmy nieszczęśliwi.

— Nie mów „czujemy” — przerwała Albertyna — nie mów „my”, to tylko ty tak myślisz.

— Tak, ostatecznie, ty czy ja, jak chcesz, z tego czy z innego powodu. Ale już jest wariacka godzina, powinnaś iść spać... postanowiliśmy się rozstać dziś wieczór.

— Przepraszam, ty postanowiłeś, a ja jestem posłuszna, bo nie chcę ci robić przykrości.

— Niech będzie, ja postanowiłem, ale i tak jest nie mniej dla mnie bolesne. Nie mówię, że to będzie bolesne długo, wiesz, że nie umiem długo pamiętać, ale przez pierwsze dni bardzo mi się będzie przykryło za tobą. Otóż uważam za zbyt uczucie podsycać to listami, trzeba skończyć od jednego zamachu.

— Tak, masz słuszość — rzekła ze stroskaną miną, którą podkreśliły jeszcze rysy zmięte zmęczeniem o tej późnej godzinie. — Zamiast dać sobie uciąć palec po palcu, wolę raczej całą głowę zaraz.

— Mój Boże, przerażony jestem, do jakiej godziny ja cię trzymam, ależ to szaleństwo! No cóż, ostatni wieczór! Będziesz miała czas wyspać się przez resztę życia.

I tak powtarzając, że trzeba sobie powiedzieć dobranoc, starałem się opóźnić chwilę, w której mi je powie.

— Czy chcesz, abym dla rozerwania cię przez pierwsze dni poprosił Blocha o przysłanie swojej kuzynki tam, gdzie będziesz? Zrobi to dla mnie.

— Nie wiem, czemu to mówisz — (mówiłem to, aby wydrzeć Albertynie wyznanie) — zależy mi tylko na jednej istocie, na tobie — rzekła Albertyna, której słowa napęliły mnie słodyczą. Ale natychmiast ileż bólu mi zadała: — Przypominam sobie z pewnością, że dałam fotografię Esterze, bo bardzo nalegała i wiedziałam, że jej to zrobi przyjemność. Ale żebym z nią była w przyjaźni albo miała ochotę widzieć ją kiedyś...

A mimo to Albertyna była tak lekkomyślna, że dodała:

— Jeżeli chce mnie widzieć, mnie wszystko jedno, jest bardzo miła, ale wcale nie zależy mi na tym.

Tak więc kiedyś mówiłem o fotografii Estery, którą mi przesłał Bloch (a jeszcze jej nawet nie otrzymałem, kiedyś mówiłem o tym Albertynie), ona zrozumiała, że Bloch pokazywał mi jej własną fotografię, którą dała Esterze. W najgorszych przypuszczeniach nie wyobrażałem sobie, aby mogła istnieć podobna zażyłość między Albertyną a Esterą. Albertyna nie umiała mi nic odpowiedzieć, kiedyś mówiłem o fotografii. A teraz, myśląc błędnie, że ja wiem wszystko, uważała za sprytniejsze przyznać się. Byłem przygnębiony.

— A potem, Albertyno, błagam cię o jedno; nie staraj się mnie nigdy widzieć. Gdybyśmy kiedyś, co może się zdarzyć za rok, za dwa, za trzy lata, znaleźli się w jednym mieście, unikaj mnie.

Widząc, że nie odpowiada na moją prośbę, dodałem:

— Albertynko, nie spotkajmy się już nigdy w życiu. To by mi było zbyt przykro. Bo ja naprawdę bardzo cię lubiłem, wiesz. Pamiętam, kiedyś ci powiedziałem kiedyś, że chcę widzieć tamtą osobę, o której mówiliśmy w Balbec, myślałaś, że to się stało. Ale nie, zaręczam ci, że mi to było obojętne. Jesteś pewna, że ja od dawna zamierzałem cię rzucić, że czułość moja była komedią.

— Ależ nie, wariat jesteś, nigdy tak nie myślałam — rzekła smutno.

— Masz rację, nie trzeba tak myśleć; kochałem cię naprawdę, to może nie była miłość, ale wielka, wielka przyjaźń, większa, niż możesz przypuszczać.

— Ależ tak, wierzę. A czy ty sobie wyobrażasz, że ja cię nie Kocham!

— Bardzo mi jest przykro rozstawać się z tobą.

— A mnie tysiąc razy bardziej — odparła Albertyna.

Już od chwili czułem, że nie mogę powstrzymać łez, które mi nabiegały do oczu. I te łzy nie pochodziły wcale z podobnej przykrości, jaką odczuwałem niegdyś, mówiąc do Gilberty: „Lepiej, żebyśmy się już nie widywali, życie nas rozdziela”. Bez wątpienia, kiedyś to pisałem do Gilberty, powiadałem sobie, że gdybym kochał już nie ją, ale inną, nadmiar mojej miłości zmniejszyłby szanse uczuć, jakie mógłbym w niej obudzić, jak gdyby między dwiema istotami istniała nieodzownie pewna ilość rozporządzalnej miłości, tak iż nadwyżka jednej strony odbywa się kosztem strony przeciwnej i że z ową drugą również, jak z Gilbertą, trzeba mi będzie się rozstać. Ale położenie było zupełnie odmienne dla wielu przyczyn. Pierwszą, która z kolei zrodziła inne, był ów brak woli, którego babka i matka obawiały się we mnie w Combray i wobec którego obie kolejno skapitulowały: tyle ma chory energii w narzuceniu swojej słabości! Ten brak woli rozwijał się coraz to szybciej. Kiedyś czułem niegdyś, że moja obecność nuży Gilbertę, miałem jeszcze na tyle siły, aby się jej wyrzec; nie miałem już tej siły, kiedyś stwierdziłem to samo u Albertyny: myślałem tylko o tym, aby ją zatrzymać za wszelką cenę. Tak iż o ile pisałem do Gilberty, że jej już nie ujrzę, z zamiarem nieujrzenia jej naprawdę, Albertynie powtarzałem to jedynie jako czyste kłamstwo, aby sprowadzić pojednanie. W ten sposób mamiliśmy się wzajem pozorem bardzo różnym od rzeczywistości. I z pewnością zawsze tak jest, kiedy dwie istoty znajdują się na wprost siebie; zawsze jedna nie zna części tego, co jest w drugiej, a nawet tego, co wie, nie może po części zrozumieć. Każda z nich wyraża to, co najmniej osobiste; czy że nie odcyfrowała samej siebie i uważa za nieważne to, co najważniejsze, czy że błahe i nieistotne przewagi wydają się jej ważniejsze i pochlebniejsze. Ale w miłości nieporozumienie to dochodzi szczytu, bo z wyjątkiem może epoki dzieciństwa staramy się, aby pozór nie tyle odbijał ściśle naszą myśl, ile aby był w naszym poczuciu najcelowszy dla zdobycia tego, czego pragniemy, a czym dla mnie, od chwili jak wróciłem do domu, było zachować Albertynę w równej niewoli jak dotąd. Bałem się, żeby w swojej irytacji nie żądała większej swobody. Swobody tej chciałem użyczyć jej kiedyś; w tej chwili jednak, kiedy się bałem jej dążeń do niezależności, zanadto podsyciłoby to moją zazdrość. Począwszy od pewnego wieku, przez ambicję i przez przezorność udajemy, że nie zależy

nam na rzeczach, na których nam najwięcej zależy. Ale w miłości prosta przezorność — która zresztą nie jest zapewne prawdziwą mądrością — narzuca nam dość szybko ten geniusz fałszu. Jako dziecku, najśłodszą rzeczą w miłości, samą jej istotą, wydawało mi się to, aby móc swobodnie objawiać czułość wobec istoty, którą kochałem, wdzięczność za jej dobroć, chęć ciągłego życia razem. Ale z własnego doświadczenia i z doświadczenia przyjaciół zbyt dobrze rozumiałem, że wyraz takich uczuć zgoła nie jest zaraźliwy. Skoro raz to zauważymy, nie pozwalamy sobie już na takie wylewy; toteż strzegłem się popołudniu wyrazić Albertynie całą wdzięczność za to, że wróciła z Trocadéro. A wieczorem w obawie, aby mnie nie porzuciła, udałem, że to ja pragnę ją rzucić; udanie nie tylko zresztą podyktowane mi przez doświadczenia poprzednich miłości zastosowane do obecnej.

Bąłem się, że Albertyna mi powie: „Chcę czasem wychodzić sama, chcę być wolna choćby całą dobę”, że sformułuje w tym zakresie jakieś żądanie, którego nie starałem się określić, ale które mnie przerażało. Ta obawa musnęła mnie przez chwilę przed wieczorem u Verdurinów i podczas tego wieczoru. Ale rozproszyła się, zneutralizowana zresztą pamięcią tego, co mi Albertyna wciąż powtarzała o swoim szczęściu u mnie. Zamiar opuszczenia mnie, jeżeli istniał u Albertyny, objawiał się jedynie mglisto, smutnymi spojrzeniami, nerwowością, słowami, które wcale tego nie znaczyły, ale które, gdyby się głębiej zastanowić, zdradzały w Albertynie obecność tajonych uczuć zdolnych przywieść ją do tworzenia planów innego życia bez mnie. I nie było nawet co się zastanawiać; odgaduje się natychmiast ten język namiętności; nawet prości ludzie rozumieją te słowa, dające się wytłumaczyć jedynie próżnością, urazą, zazdrością, niewyrażonymi zresztą, ale odkrytymi natychmiast u partnera przez ową intuicyjną zdolność, rzecz najpowszechniejszą w świecie, jak ów zdrowy rozsądek, o którym mówi Descartes<sup>1368</sup>. Tak samo jak ten zamysł nie wyrażał się w słowach Albertyny w sposób logiczny, tak samo przecucie tego zamysłu, powzięte od owego wieczora, pozostało we mnie równie mgliste. Nadal żyłem hipotezą, przyjmując za prawdę wszystko, co mówiła Albertyna. Ale możliwe jest, że przez ten czas nie opuszczała mnie hipoteza wręcz przeciwna, o której nie chciałem myśleć; co jest tym prawdopodobniejsze, że inaczej nie krępowałbym się wcale z oznajmieniem Albertynie mojej bytności u Verdurinów i że inaczej nie tłumaczyłby się u mnie brak zdziwienia jej gniewem. Tak iż prawdopodobnie żyło we mnie pojęcie Albertyny wręcz przeciwne temu, jakie sobie o niej wytworzyłem rozumowo; bądź co bądź pojęcie Albertyny nie całkowicie wymyślonej, będącej niby dawniejszym zwierciadłem pewnych jej odruchów, na przykład niezadowolnienia z tego, że poszedł do Verdurinów. Od dawna zresztą moje częste lęki, obawa powiedzenia Albertynie, że ją kocham, wszystko to odpowiadało innej hipotezie, tłumaczącej o wiele więcej rzeczy. I kiedy się przyjęło pierwszą hipotezę, druga stawała się prawdopodobniejsza, ponieważ dając folgę czułości dla Albertyny, budziłem w niej jedynie irytację (którą zresztą tłumaczyła czym innym).

Analizując rzecz w tym duchu, wedle niezmiennego systemu odpowiedzi całkiem sprzecznych z tym, com w istocie odczuwał, mogę być pewien, iż, jeżeli owego wieczora powiedziałem Albertynie, że zamierzam ją opuścić, uczyniłem to — zanim jeszcze nawet zdałem sobie z tego sprawę — dlatego że się bąłem, iż ona zapragnie wolności. Nie bardzo umiałbym powiedzieć, co to była ta wolność, która mnie przyprawiała o drżenie, ale ostatecznie wolność pozwalająca Albertynie mnie zdradzać lub bodaj nie dająca mi pewności, że mnie nie zdradza. Chciałem jej pokazać, przez dumę, przez chytrość, że się tego wcale nie boję; podobnie jak to już uczyniłem w Balbec, kiedy chciałem, żeby Albertyna powzięła o mnie wysokie pojęcie, i później jeszcze, kiedy mi chodziło o to, żeby nie miała czasu nudzić się ze mną. Wreszcie co się tyczy zarzutu, jaki można by przeciwstawić tej drugiej — niesformułowanej — hipotezie, iż wszystko, co Albertyna zawsze mi mówiła, znaczyło przeciwnie, że jej największe szczęście to życie u mnie, spokój, czytanie, samotność, wstręt do miłości saficznych<sup>1369</sup> itd., nie warto nawet zatrzymywać się przy tym. Bo gdyby znów Albertyna chciała sądzić o moich uczuciach z tego, co mówiłem, dowiedziałyby

<sup>1368</sup> Descartes, René, pol. Kartezjusz (1596–1650) — francuski filozof, fizyk i matematyk; prekursor geometrii analitycznej; zwolennik racjonalizmu w filozofii, zwany ojcem europejskiej filozofii nowożytnej. [przypis edytorski]

<sup>1369</sup> saficzna miłość — miłość lesbijska, od imienia greckiej poetki Safony, mieszkającej na wyspie Lesbos, autorki głównie poezji miłosnej, często sugerującej jej miłość do kobiet. [przypis edytorski]

się rzeczy wręcz sprzecznych z prawdą, skoro chęć rozstania się objawiałem jedynie wtedy, kiedy się nie mogłem bez niej obejść; a jeżeli w Balbec wyznałem jej, że kocham inną kobietę — raz Annę, drugi raz jakąś tajemniczą osobę — uczyniłem to oba razy wówczas, kiedy zazdrość wskrzesiła we mnie miłość do Albertyny. Słowa nie odbijały zatem zgola moich uczuć. Jeżeli czytelnik odczuwa to zbyt słabo, to dlatego, że jako opowiadający przedstawiam mu swoje uczucia równoległe z powtórzeniem moich słów. Ale gdybym mu tań te uczucia i gdyby znał tylko słowa, postęпки moje, tak słaby mające z nimi związek, zrobiłyby na nim często wrażenie dziwacznych wyskoków, wzięłyby mnie niemal za wariata. Proceder ów nie byłby zresztą o wiele fałszywszy od tego, który obrałem, obrazy bowiem, które pobudzały moje czyny, tak różne od tych, które się malowały w moich słowach, były w owej chwili bardzo ciemne; znałem jedynie bardzo słabo naturę, w której duchu działałem; dziś widzę jasno jej subiektywną prawdę. Co się tyczy prawdy obiektywnej, to znaczy tego, czy skłonności owej natury dokładniej od mego rozumowania chwytały prawdziwe intencje Albertyny, czy miałem rację zaufać tej naturze i czy przeciwnie, nie zmieniała ona intencji Albertyny zamiast je rozpoznać, trudno mi rzec. Owa mglista doznawana przeze mnie u Verdurinów obawa, aby mnie Albertyna nie porzuciła, rozproszyła się od razu. Kiedym wrócił, wróciłem z uczuciem, że jestem więźniem, nie zaś, że odnajduję uwięzioną. Ale rozproszona obawa pochwyciła mnie znów z większą siłą, kiedy w chwili gdym oznajmił Albertynie, że byłem u Verdurinów, ujrzałem jak na jej twarzy gromadzi się zagadkowa irytacja, wykwitająca na niej zresztą nie pierwszy raz. Wiedziałem, że ten gniew jest jedynie skryształizowaniem się w jej ciele świadomych uraz, myśli jasnych dla istoty, która je formuje i która je przemilcza, syntezą uwidocznioną, ale już nie rozumową, i że ten, kto zbiera na twarzy ukochanej szacowny osad jej myśli, próbuje z kolei dla zrozumienia, co się dzieje w jej duszy, sprowadzić analizą ów osad do jego intelektualnych składników. Przybliżone równanie niewiadomej, jaką była dla mnie myśl Albertyny, dało mi mniej więcej to: „Znałam jego podejrzenia, byłam pewna, że będzie się starał je sprawdzić; abym go zaś nie mogła krępować, wykonał całą robotę po kryjomu”. Ale jeżeli Albertyna żywiła takie myśli (których nigdy nie wyraziła) czy nie musiała zbrzydzić sobie i postanowić z dnia na dzień przerwać nieznośną dla niej egzystencję, w której jeżeli była — bodaj chęcią — winna, czuła się odgadywana, tropiona, paraliżowana w swoich skłonnościach. A i tak nie uspokajało to mojej zazdrości! A jeżeli Albertyna była zamiarami i faktycznie niewinna, miała prawo od jakiegoś czasu czuć się zniechęcona, widząc, że od Balbec, gdzie tak wytrwale unikała wszelkiego sam na sam z Anną, aż do dziś, kiedy wyrzekła się pójścia do Verdurinów lub zostania w Trocadéro, nie zdołała odzyskać mojego zaufania. Tym bardziej że nie mogłem jej zachowaniu się nic zarzucić. W Balbec, kiedy się mówiło o dziewczętach, które miały podejrzaną maniery, Albertyna często puszczała się na śmieszki, „wygibywania się”, naśladowania ich; wszystko to drażniło mnie, wyobrażałem sobie, co to może oznaczać dla jej przyjaciółek. Za to od czasu jak znała moje poglądy, z chwilą gdy ktoś zrobił aluzję do rzeczy tego rodzaju, Albertyna przestawała brać udział w rozmowie, nie tylko słowami, ale wyrazem twarzy. Bądź że nie chciała przyczyniać się do złośliwości mówionych o tej lub owej, bądź z innej jakiejś przyczyny, w jej tak zmiennych i ruchliwych rysach uderzało wówczas jedynie to, że od chwili gdy się dotknęło tego przedmiotu, rysy te świadczyły o niewadze, zachowując ściśle wyraz, jaki miały chwilę przedtem. I to zastygnięcie nawet płochego wyrazu ciąży jak milczenie; niepodobna byłoby powiedzieć, czy ona gani, czy pochwała, czy wie, o czym mowa, czy nie wie. Każdy jej rys był w związku tylko z innym z jej rysów. Nos, usta, oczy tworzyły doskonałą harmonię wyodrębnioną z reszty; wyglądała jak pastel i robiła wrażenie, że nie słyszała tego, co się powiedziało, tak jakby się to powiedziało przed portretem La Toura<sup>1370</sup>.

Moja niewola, jeszcze gniożąca mnie wówczas, kiedy podając dorożkarzowi adres Brichota, widziałem światło w oknie, przestała mi ciążyć w chwilę potem, kiedym mógł mniemać, że Albertyna tak okrutnie odczuwa swoją niewolę. Iżby się jej ta niewola zdawała mniej ciężka, iżby jej nie przyszło na myśl zerwać ją z własnej pobudki, najzręczniejszym zdało mi się obudzić w niej wrażenie, że ta niewola nie jest ostateczna i że sam pragnę

<sup>1370</sup> *La Tour, Maurice Quentin de* (1704–1788) — francuski malarz portrecista, tworzący przede wszystkim dzieła pastelowe; sportretował m.in. Ludwika XV, Woltera, Rousseau, d'Alemberta, Madame Pompadour. [przypis edytorski]



jej końca. Widząc, że udanie się powiodło, powinien bym się czuć szczęśliwy. Pokonałem to, czego się tak bałem — wolę odejścia odgadywaną w Albertynie; równocześnie zaś, nawet poza zamierzonym celem, sukces mojej komedii sam w sobie, dowodząc, że nie jestem dla Albertyny wzgardzonym kochankiem, ośmieszonym zazdrośnikiem, którego wszystkie chytryści zawczasu się przenika, przywracał naszej miłości pierwotną świeżość, wskrzeszając czas, kiedy Albertyna mogła jeszcze w Balbec tak łatwo uwierzyć, że ja kocham inną. Bo nie byłaby już zapewne w to uwierzyła, ale wierzyła w moją udaną intencję zerwania z nią tego wieczora na zawsze. Wyraźnie podejrzewała, że przyczyną tego mogła się stać wizyta u Verdurinów.

Aby ukoić wzruszenie, o jakie mnie przyprawiało moje udane zerwanie, rzekłem:

— Albertyno, możesz przysiąc, żeś mi nigdy nie skłamała?

Utkwiła wzrok w próżnię, po czym odpowiedziała:

— Tak... to znaczy nie. Skłamałam, że Anna leci na Blocha, nie widziałyśmy go.

— Ale w takim razie po co?

— Bo się bałam, żebyś nie uwierzył w inne rzeczy o niej. Tylko tyle.

Powiedziałem, że spotkał pewnego autora dramatycznego bardzo zaprzyjaźnionego z Leą, któremu Lea zwierzyła dziwne rzeczy. (Chciałem tym dać do zrozumienia, że o tej przyjaciółce kuzynki Blocha wiem więcej, niż mówię). Albertyna znów popatrzyła w próżnię i rzekła:

— Źle zrobiłam, mówiąc przed chwilą o Lei, że zataiła trzytygodniową podróż, którą z nią odbyłam. Ale tak mało cię znałam w epoce, kiedy się to działo!

— To było przed Balbec?

— Przed drugim Balbec, tak.

I tego samego rana powiedziała mi, że nie zna Lei, i przed chwilą mówiła, że ją widziała tylko w garderobie! Patrzyłem, jak płomień spala w mgnieniu oka powieść, w której pisanie włożyłem milion minut. Po co? Po co? Zapewne rozumiałem, że Albertyna komunikuje mi te fakty, bo myśli, że się o nich dowiedział pośrednio od Lei. Czemu nie miałyby istnieć setki podobnych? Rozumiałem także, że słowa Albertyny, kiedy ją pytać o coś, nie zawierają nigdy ani atomu prawdy, że prawda wymyka się jej jedynie mimo woli, w nagłym zamieszaniu między faktami, które Albertyna dotąd była zdecydowana ukryć, a obawą jej, że ktoś już o nich może wiedzieć.

— Ale dwie rzeczy to nic — rzekłem. — Dojdźmy do czterech, żebyś mi zostawiła wspomnienia. Co możesz mi jeszcze wyznać?

Znów popatrzyła w próżnię. Do jakiej wiary w życie przyszłe dostrajała kłamstwo, z jakimi bogami mniej zgodliwymi, niżby przypuszczała, próbowała wejść w układy? To nie musiało być proste, bo jej milczenie i nieruchomość jej spojrzenia trwały dość długo.

— Nie, nic więcej — rzekła.

I mimo moich nalegań uparła się — już bez trudu — przy „nic więcej”. I co za kłamstwo! Bo skoro miała te skłonności, ileż razy, aż do dnia, w którym zamknąłem ją u siebie, ileż razy, w ilu mieszkaniach, na ilu spacerach musiała je zaspokajać! Gomorejki są zarazem na tyle rzadkie i na tyle liczne, że bodaj w największym tłumie jedna nie ujdzie niepostrzeżona oczom drugiej. I wówczas łatwo przychodzi do porozumienia.

Przypomniałem sobie ze zgrozą pewien wieczór, który w danej epoce wydawał mi się tylko śmieszny. Jeden z przyjaciół zaprosił mnie na obiad do restauracji wraz ze swoją kochanką i z innym przyjacielem, który przyprowadził swoją. Te kobiety prędko się odgadły; i tak pilno im było się posiąść, że od zupy nogi ich szukały się pod stołem, trafiając często na moją. Niebawem nogi zaplotły się o siebie. Moi dwaj przyjaciele nie widzieli nic; byłem na mękach. Jedna z kobiet, nie mogąc wytrzymać dłużej, weszła pod stół, mówiąc, że coś upuściła. Potem jedna dostała migreny i zachciała iść do umywalni. Druga spostrzegła, że czas jej iść do przyjaciółki do teatru. W końcu zostałem sam z dwoma przyjaciółmi, którzy nie domyślali się niczego. Owa z migreną wróciła, ale przeprosiła, że pójdzie sama do domu wcześniej, bo chce zażyć antypiryny. Bardzo się zaprzyjaźniły, chodziły razem na spacer; jedna, przebrana za mężczyznę, łowiła małe dziewczynki i sprowadzała je tamtej, uświadamiała je. Druga miała małego chłopca, na którego rzekomo się gniewała i kazała go karcic przyjaciółce, nieżałującej wówczas ręki. Można by rzec, że nie ma tak publicznego miejsca, gdzieby nie robiły tego, co najsekretniejsze.

— Ale Lea była przez cały czas tej podróży idealnie przyzwoita ze mną — rzekła Albertyna. — Była nawet bardziej uważająca niż wiele kobiet z towarzystwa.

— Czy kobiety z towarzystwa zachowywały się kiedyś z tobą niewłaściwie, Albertyno?

— Nigdy.

— Zatem co miałaś na myśli?

— No, to, że była o wiele mniej swobodna w słowach.

— Na przykład.

— Nie użyłaby, jak wiele kobiet, które się przyjmuje w towarzystwie, słowa „piłować” albo „gwizdać na coś”.

Miałem wrażenie, że część powieści, która jeszcze nie spłonęła, rozpada się wreszcie w popiół.

Moje zniechęcenie byłoby trwało. Słowa Albertyny, kiedym się nad nimi zastanawiał, wzbudzały we mnie szalony gniew. Z kolei gniew ustąpił jakiemuś roztkliwieniu. I ja też, od chwili gdy wróciłem i oświadczyłem, że chcę zerwać, kłamałem. I ta chęć zerwania, którą udawałem tak wytrwale, wzbudziła pomału we mnie coś ze smutku, który byłbym czuł, gdybym chciał naprawdę opuścić Albertynę.

Zresztą nawet myśląc napadami, nawrotami (jak się mówi o innych cierpieniach fizycznych), o orgiach, w jakich żyła Albertyna przed naszym poznaniem się, tym bardziej podziwiałem uległość mojej branki i przestałem się na nią gniewać.

Zapewne nigdy w ciągu naszego pożycia nie przestawałem dawać Albertynie do zrozumienia, że będzie ono pewno tylko tymczasowe; chciałem tym przedłużyć urok, jaki Albertyna mogłaby w nim znajdować. Ale tego wieczora posunąłem się dalej, zląkwszy się, że mgliste pogroźki zerwania mogą już nie wystarczać, zanulowane w myśli Albertyny przeświadczeniem o mojej wielkiej miłości i zazdrości, która mnie — Albertyna dawała to do zrozumienia — popchnęła do wywiadu u Verdurinów.

Tego wieczora pomyślałem, że spośród innych przyczyn, które mogły mnie nagle skłonić (z czego zdałbym sobie sprawę jedynie stopniowo) do tej komedii zerwania, było zwłaszcza moje usposobienie odziedziczone po ojcu. Kiedy mianowicie w jednym z owych wyskoków, jakie miewał mój ojciec, zagrażałem jakiejś istocie w jej poczuciu bezpieczeństwa, nie mając jak ojciec odwagi urzeczywistnienia groźby, szedłem dość daleko w pozorach realizacji, aby nie dopuścić wiary, że to były tylko słowa rzucone na wiatr; cofałem się dopiero wówczas, kiedy przeciwnik, zmylony zapewne moją szczerością, zadrział na dobre. Zresztą w tego rodzaju kłamstwach czujemy, że jest coś z prawdy; o ile życie nie przynosi zmian naszej miłości, my sami chcemy je wnieść albo udać, mówiąc o rozstaniu, bo w gruncie czujemy, że wszelka miłość i wszystkie rzeczy biegną szybko ku pożegnaniu. Chcemy, o wiele przed jego przyjściem, wyplakać łzy, które to rozstanie przyniesie. Z pewnością tym razem scena, którą odegrałem, miała swój praktyczny cel. Chciałem nagle zatrzymać Albertynę, bo czułem ją wmieszaną między inne istoty, czemu nie mogłem przeszkodzić. Ale gdyby się nawet na zawsze wyrzekła wszystkich dla mnie, tym bardziej może postanowiłbym nie opuścić jej nigdy, bo o ile zazdrość czyni rozstanie czymś okrutnym, wdzięczność uniemożliwia je. Czułem w każdym razie, że wydamę wielką bitwę, w której muszę zwyciężyć lub paść. Byłbym ofiarował Albertynie w jednej godzinie wszystko, com posiadał, bo powiedziałem sobie: wszystko zależy od tej bitwy, ale te bitwy mniej są podobne do owych dawniejszych, które trwały kilka godzin, niż do bitwy współczesnej, która nie kończy się ani jutro, ani pojutrze, ani za tydzień. Oddaje się wszystkie siły w przeświadczeniu, że to są ostatnie, jakich się będzie potrzebowało. I więcej niż rok mija, nie przynosząc „rozstrzygnięcia”. Może łączyła się z tym nieświadoma reminiscencja komedianckich scen pana de Charlus, w którego towarzystwie byłem, kiedy mnie ogarnął lęk, że Albertyna może mnie porzucić. Ale później usłyszałem od matki coś, o czym nie wiedziałem wówczas i co mi każe wierzyć, że wszystkie elementy tej sceny znalazłem w samym sobie, w owych mrocznych zasobach dziedziczności, które dochodzą w nas do głosu pod wpływem pewnych wrzuseń działających tak, jak w stosunku do naszych zamagazynowanych sił działają leki analogiczne do alkoholu i kawy. Kiedy ciocia Leonia słyszała od Eulalii, że Franciszka, pewna, iż pani jej nie wyjdzie już nigdy z domu, obmyśliła w sekrecie jakąś wyprawę, o której ciocia miała się nigdy nie dowiedzieć, w wilię owego dnia ciocia oznajmiała, niby to że spróbuje jutro wyjechać na spacer. Polecała niedowierzającej Franciszce nie tylko wszystko przygotować z góry, prze-

wietrzyć rzeczy, które były długi czas zamknięte, ale nawet zamówić powóz, ułożyć co do kwadransa wszystkie sprawy dzienne. I dopiero kiedy Franciszka, przekonana lub bodaj zaniepokojona, czuła się zmuszona wyznać własne projekty, wówczas ciocia wyrzekała się jawnie swoich, aby — powiadała — nie krzyżować planów Franciszki. Tak samo, aby Albertyna nie mogła myśleć, że ja przesadzam, i aby ją najsukuteczniej umocnić w przekonaniu, że się rozstajemy, wyciągając konsekwencje z tego, com powiedział, zacząłem uprzedzać nasze jutrzejsze i rzekomo wiekuiste rozstanie, mówiąc do Albertyny tak i zalecając jej takie rzeczy, jak gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. Jak generałowie, którzy sądzą, że aby finta mogła oszukać nieprzyjaciela, trzeba ją posunąć jak najdalej, włożyłem w tę komedię niemal tyle serca, co gdyby miała być prawdą. Ta urojona scena rozstania przejęła mnie w końcu taką zgryzotą, jak gdyby była prawdziwa; może dlatego, że jeden z dwóch aktorów — Albertyna — uważając ją za prawdę, pomnażał złudzenie drugiego. Przy dotychczasowym życiu z dnia na dzień każdy dzień, nawet przykry, był jednak znośny, uwięziony balastem przyzwyczajenia oraz tą pewnością, że jutro, choćby miało być okrutne, będzie zawierało obecność drogiej istoty; i obecnie niweczyłem jak szalenięca całe to solidne życie. Niszczyłem je, to prawda, jedynie fikcyjnie, ale to wystarczyło, aby mnie osmucić; może dlatego, że smutne słowa, które wymawiamy, nawet kłamliwe, noszą w sobie swój smutek i wstrzykują go nam głęboko; może dlatego, że wiemy, iż udając pożegnanie, uprzedzamy godzinę, która nadejdzie kiedyś nieodwołalnie; a wreszcie nie jesteśmy całkiem pewni, czy nie poruszamy sprężyny, która każe tej godzinie wybić. We wszelkim blefie istnieje cząstka niepewności — bodaj najmniejsza — co do reakcji osoby, którą się zwodzi. Gdyby ta komedia rozstania miała się skończyć rozstaniem! Niepodobna sobie bez skurczu serca wyobrazić jego możliwości, nawet nieprawdopodobnej. Jest się podwójnie załknionym, bo rozstanie przyszłoby w chwili, gdy byłoby czymś nie do zniesienia, gdyśmy właśnie cierpieli przez kobietę; i odeszłaby, nie uleczywszy nas lub bodaj nie ukoiwszy! A wreszcie nie mamy już punktu oparcia w przyzwyczajeniu, na którym opieramy się nawet w zgryzocie. Dobrowolnie pozbawiliśmy się go; daliśmy obecnemu dniowi wyjątkową wagę; odcięliśmy go od przyległych dni; buja bez korzeni niby dzień wyjazdu; wyobraźnia nasza, nieparaliżowana już przyzwyczajeniem, obudziła się; przydaliśmy nagle naszej codziennej miłości sentymentalne marzenia i te zwiększają ją olbrzymio, rodzą w nas konieczną potrzebę jakiejś obecności, na którą nie możemy już bezzawodnie liczyć. Właśnie dlatego zapewne, aby sobie zapewnić tę obecność, puściliśmy się na komedię udania, że możemy się bez niej obejść. Ale złapaliśmy się sami, zaczęliśmy na nowo cierpieć przez to, żeśmy zrobili coś nowego, niezwykłego, coś na kształt owych kuracji, które mają później uleczyć chorobę, ale zrazu pogarszają ją.

Miałem łzy w oczach, jak ci, co będąc sami, kaprysem wyobraźni przeżywają śmierć ukochanej osoby i uzmysławiają sobie tak drobiazgowo własny ból, że w końcu go doznają, I tak, w miarę jak dawałem Albertynie zlecenia co do jej zachowania się w stosunku do mnie, wówczas gdy się rozstaniemy, miałem wrażenie, że odczuwam tyleż zgryzoty, co gdybyśmy się nie mieli pogodzić za chwilę. A potem, czy byłem tak pewny, że zdołam to uczynić, że znów sprowadzę Albertynę do myśli o wspólnym życiu? A gdyby mi się to udało na ten wieczór, czy mogłem być pewny, że nie odrodzi się w niej poprzedni stan ducha? Czulem się panem przyszłości, ale nie wierzyłem w to panowanie; rozumiałem, że moje poczucie pochodzi tylko stąd, że ta przyszłość jeszcze nie istnieje i że tym samym nie przytłacza mnie jej konieczność. Kłamiąc tedy, byłem może bliższy prawdy, niż myślałem. Na przykład, kiedy mówiłem Albertynie, że rychło o niej zapomnę: zdarzyło mi się to w istocie z Gilbertą, której jeżeli teraz nie chciałem widzieć, to aby sobie oszczędzić niecierpienia, ale nudy. Niewątpliwie cierpiałem, oznajmiając niegdyś Gilbertcie, że już jej nie zobaczę, i chodziłem do niej jedynie z rzadka. Otóż wszystkie godziny Albertyny należały do mnie, a w miłości łatwiej jest wyrzec się uczucia niż przyzwyczajenia. Ale jeżeli miałem siłę wypowiedzieć tyle bolesnych słów w sprawie naszego rozstania, dlatego iż wiedziałem, że są kłamliwe, w zamian za to były one szczerze w ustach Albertyny, kiedy wykrzyknęła:

— Och! Przyrzekam ci, nie ujrę cię już nigdy. Wszystko raczej niż patrzeć, jak ty płaczesz, kochanie. Nie chcę ci robić przykrości. Skoro tak trzeba, nie zobaczymy się już nigdy.

Te słowa były szczere, czym nie mogłyby być w moich ustach; z jednej strony dlatego, że Albertyna miała dla mnie tylko przyjaźń, wyrzeczenie się zatem kosztowało ją mniej, z drugiej strony dlatego, że w momencie rozstania czule rzeczy mówi ten, który nie kocha, ile że miłość nie wyraża się wprost; dlatego wreszcie, że moje lzy, które byłyby taką drobnostką w sferze wielkiej miłości, wydawały się Albertynie niemal czymś nadzwyczajnym i wstrząsały ją przeniesione w sferę przyjaźni, w której przebywała, owej przyjaźni większej niż moja wedle tego, co właśnie dopiero co wyrzekła. I nie było to może całkiem nieścisle, tysiączne bowiem objawy miłości mogą w końcu zrodzić w istocie, która je budzi, nie odczuwając ich sama, przywiązanie, wdzięczność mniej samolubne od uczucia, które je wywołało; i po latach rozłąki, kiedy nic nie zostanie z tego w dawnym kochanku, przetrwają one zawsze w ukochanej.

— Albertynko — odparłem — bardzo jesteś pocziwa, że mi to przyrzekasz. Zresztą, przez pierwsze lata przynajmniej, będę unikał miejsc, gdzie ty będziesz. Nie wiesz, czy pojedziesz tego roku do Balbec? W takim razie urządziłbym się tak, żeby tam nie jechać.

Jeżeli teraz posuwałem się dalej, uprzedzając czas w swoim kłamliwym zmyśleniu, czyniłem to zarówno po to, aby nastraszyć Albertynę, jak po to, aby zadać ból samemu sobie. Jak człowiek, który zrazu miał jedynie blahe powody do urazy, upija się wybuchami własnego głosu i ulega wściekłości zrodzonej nie z jego zarzutów, ale z samego rosnącego stopniowo gniewu, tak ja toczyłem się coraz to szybciej po pochyłości mojego smutku ku rozpaczycy coraz to głębszej, z bezwładem człowieka, który czując, że go ogarnia chłód, nie próbuje walczyć i znajduje nawet w drzeniu z zimna rodzaj przyjemności. I gdybym miał wreszcie za chwilę — jak na to liczyłem — siłę opanowania się, otrząśnięcia i dania kontrpary<sup>1371</sup>, pocałunek Albertyny na dobranoc musiałby mnie pocieszyć nie tyle po zmartwieniu, jakie mi sprawiła, tak źle przyjmując mój powrót, ile po zmartwieniu, jakiemu się poddałem, wymyślając formalności urojonego rozstania (dla rzekomego uregulowania ich) i przewidując jego skutki. W każdym razie nie trzeba było, aby to Albertyna powiedziała mi owo „dobranoc” sama z siebie, co by mi utrudniło zwrot, jakim zaproponowałbym jej pojednanie. Toteż raz po raz przypominałem Albertynie, że godzina „dobranoc” od dawna już nadeszła, co zostawiając mi inicjatywę, pozwalało mi opóźnić je jeszcze na chwilę. W ten sposób aluzjami do tak spóźnionej pory i do naszego zmęczenia przeplatałem pytania, które zadawałem Albertynie.

— Nie wiem, dokąd się udam — odpowiedziała w zamyśleniu. — Może do Turenii, do ciotki. — I ten pierwszy szkic projektu zmroził mnie tak, jakby był istotnie początkiem ostatecznego rozstania. Popatrzyła na pokój, na pianolę, na niebieskie atlasowe fotele. — Nie mogę się jeszcze oswoić z myślą, że już tego nie zobaczę ani jutro, ani pojutrze, ani nigdy. Biedny pokoik. Zdaje mi się, że to niemożliwe, to mi się nie mieści w głowie.

— Tak trzeba, byłaś tu nieszczęśliwa.

— Ależ nie, nie byłam nieszczęśliwa, dopiero teraz będę.

— Ależ nie, zapewniam cię, to lepiej dla ciebie.

— Może dla ciebie!

Zacząłem uparcie patrzeć w próżnię, tak jakbym opanowany głębokim wahaniem walczył przeciwko myśli przychodzącej mi do głowy:

— Słuchaj, Albertyno, mówisz, że jesteś tutaj szczęśliwsza, że będziesz nieszczęśliwa.

— Z pewnością.

— To wielki wstrząs dla mnie: czy chcesz, żebyśmy spróbowali przedłużyć o kilka tygodni... kto wie, tydzień po tygodniu można zająć bardzo daleko... wiesz, że istnieją prowizoria trwające w końcu wiecznie.

— Och, jaki byś ty był milusi!

— Ale w takim razie, szaleństwo jest tak się dręczyć bez powodu całe godziny; to tak jak podróż, do której się człowiek przygotowuje, a potem nie jedzie. Jestem jak zbity z tego wszystkiego.

Posadziłem ją na kolanach, wziąłem rękopis Bergotte'a, którego tak pragnęła, i napisałem na okładce: „Mojej małej Albertynce na pamiątkę odnowienia kontraktu.”

— Teraz — rzekłem — idź spać do jutra, kochanie, musisz być strasznie zmęczona.

<sup>1371</sup>kontrpara — przeciwpara; para wpuszczana do cylindra maszyny parowej w celu zahamowania jej biegu. [przypis edytorski]

- Jestem zwłaszcza bardzo kontenta.
- Kochasz mnie troszeczkę?
- Jeszcze sto razy więcej niż przedtem.

Nie miałbym powodu do szczęścia, gdyby ta komedyjka nie osiągnęła tej perfekcji w wyreżyserowaniu, do jakiej ją doprowadziłem. Gdybyśmy tylko po prostu mówili o rozstaniu się, byłoby to dość groźne. Wymieniając takie słowa, człowiek myśli, że je wypowiada nie tylko nieszczerze (co jest w istocie prawdą), ale swobodnie. Otóż takie słowa są na ogół, bez naszej wiedzy, pierwszym szeptanym mimo naszej woli pomrukiem burzy, której się nie domyślamy. W istocie to co, wyrażamy wówczas, jest czymś przeciwnym naszemu pragnieniu (aby żyć zawsze z tą, którą kochamy); ale wyrażamy tym również ową niemożliwość wspólnego życia przynoszącą nam codzienne cierpienie — cierpienie, które wolimy od mąk rozstania, a które w końcu wbrew naszej woli nas rozłączy. Tak dzieje się zwykle, ale nie od razu. Najczęściej zdarza się — jak się okaże, z nami miało być inaczej — że w jakiś czas po słowach, w któreśmy nie wierzyli, wprowadzamy w czyn bezkształtny szkic dobrowolnego rozstania, niebolesnego, czasowego. Prosimy na przykład kobietę — po to aby później bardziej sobie podobała w naszym towarzystwie, a także chcąc sobie oszczędzić na chwilę ciągłych smutków i zmęczenia — prosimy ją, aby zrobiła bez nas lub pozwoliła nam zrobić bez niej kilkodniową podróż. To są — od bardzo dawna — pierwsze dni spędzone bez niej, co by się nam wprzód wydało niemożliwe. Bardzo prędko wraca, aby zająć miejsce przy naszym ognisku. Tylko że to rozstanie, krótkie, lecz spełnione, nie jest tak dobrowolnie postanowione i tak na pewno jedyne, jak sobie wyobrażamy. Wracają te same smutki, ta sama trudność pożycia; jedynie rozstanie się nie jest już czymś równie trudnym; zaczęło się o nim mówić, potem wykonało się je zgodnie. Ale to są tylko objawy wstępne, których nie odgadliśmy. Niebawem po rozstaniu chwilowym i uśmiechniętym nastąpi rozstanie okrutne i ostateczne, które przygotowaliśmy, nie wiedząc o tym.

— Przyjdź do mojego pokoju za pięć minut, abym cię mogła zobaczyć jeszcze trochę, kochanie. Będziesz bardzo milusi. Ale potem prędko zasnę, bo jestem jak nieżywa.

W istocie zastałem nieżywą, kiedy wszedłem za chwilę do jej pokoju. Ledwo się położywszy, usnęła; prześcieradła owinięte dokoła niej jak całun miały w swoich pięknych fałdach martwość kamienia. Można by rzec, że jak w niektórych *Sądach ostatecznych* średniowiecza, sama tylko głowa wystaje z grobu, oczekując we śnie trąby archaniola. Tę głowę zaskoczył sen przegiętą wstecz, ze zmierzwionymi włosami. I widząc owo leżące tam obojętne ciało, pytałem się, co za tabelę logarytmów ono stanowi, iżby wszystkie czynności, w którym bierze udział, od potrącenia łokciem do otarcia się suknią, mogły mi sprawiać tyle bólu — rozciągnięte aż po nieskończoność wszystkich punktów, jakie ciało to zajmowało kiedykolwiek w przestrzeni i w czasie, i od czasu do czasu wskrzeszone nagle w moim wspomnieniu. A przecież — wiedziałem o tym — czynności te wiązały się z jej ruchami, z jej pragnieniami, które byłyby mi u innej — u niej samej pięć lat przedtem lub potem — tak obojętne. Wszystko to było kłamstwem, ale kłamstwem, dla którego nie miałem odwagi szukać innego rozwiązania niż moja śmierć. I tak siedziałem w futrze, którego jeszcze nie zdjąłem, wróciwszy od Verdurinów, przed tym zwiniętym ciałem, przed tą alegorią czego? mojej śmierci? mojej miłości? Niebawem usłyszałem równy oddech Albertyny. Usiadłem na kraju łóżka; oddech ten w połączeniu z jej widokiem działał na mnie kojąco niby wietrzyk morski. Potem wyszedłem po cichu, aby jej nie budzić.

Było tak późno, że od rana kazałem Franciszce sprawować się bardzo cicho, kiedy będzie przechodziła koło pokoju Albertyny. Toteż Franciszka, przekonana, żeśmy spędzili noc na tym, co nazywała „orgiami”, zaleciła ironicznie reszcie służby, żeby nie „budzić księżniczki”. I to była jedna z rzeczy, których się bałem, mianowicie, że któregoś dnia Franciszka nie zdoła się powstrzymać, będzie niegrzeczna dla Albertyny i że to zamąci nasze życie. Franciszka nie była już wówczas w tym wieku, aby mogła znieść mężnie zazdrość, jak w epoce, gdy tak cierpiała, widząc, że ciocia Leonia faworyzuje Eulalię. Ta zazdrość zmieniała, paraliżowała twarz naszej służącej do tego stopnia, że chwilami zastanawiałem się, czy Franciszka na skutek jakiegoś wybuchu furii nie miała, bez mojej wiedzy, lekkiego ataku apopleksji.

Zaleciwszy, aby nie mącono snu Albertyny, sam nie mogłem zasnąć. Próbowałem zrozumieć, jaki jest prawdziwy stan jej ducha. Czy moja smutna komedia uchroniła mnie od prawdziwego niebezpieczeństwa; czy mimo iż Albertyna twierdziła, że się czuje u mnie tak szczęśliwa, w rzeczywistości myślała chwilami o odzyskaniu wolności, czy też przeciwnie, należało wierzyć jej słowom?

Która z dwóch hipotez była prawdą? O ile mi się zdarzało często, o ile miało mi się zwłaszcza zdarzyć, że kiedyś próbowałem zrozumieć historyczny wypadek, powiększałem jakieś wydarzenie mego minionego życia do wymiarów historii, tego rana, na odwrót, nie przestałem zestawiać naszej wczorajszej sceny z pewnym dyplomatycznym faktem, który właśnie zaszedł. W ten sposób mimo wszystkich różnic starałem się zrozumieć jej doniosłość. Miałem może prawo tak rozumować. Bo bardzo prawdopodobnie bez mojej wiedzy przykład pana de Charlus był mi natchnieniem do tej kłamliwej sceny, którą on nieraz w moich oczach odgrywał z taką powagą; z drugiej strony była ona u niego może nie czym innym, jak nieświadomym rzutowaniem w sferę życia prywatnego instynktu jego niemieckiej rasy, prowokatorskiej przez chytrą, a w potrzebie wojowniczej z pychy. Ponieważ różne osoby, między innymi książę Monaco<sup>1372</sup>, podsunęły rządowi francuskiemu myśl, że jeżeli się nie rozstanie z panem Delcassé<sup>1373</sup>, odgrają się Niemcy wypowiedzą nam w istocie wojnę, poproszono ministra spraw zagranicznych, aby się podał do dymisji. Zatem rząd francuski uznał za fakt intencje wojenne Niemiec, o ile nie ustąpimy. Ale inni myśleli, że chodziło tylko o prosty blef i że gdyby się Francja oparła, Niemcy nie dobyłyby miecza. Zapewne scenariusz był nie tylko różny, ale niemal odwrotny, bo nigdy Albertyna nie groziła mi zerwaniem; ale suma wrażeń zrodziła we mnie wiarę, że ona myśli o tym, tak jak rząd francuski uwierzył w intencje Niemiec. Z drugiej strony, jeżeli Niemcy pragnęły pokoju, wątpliwą i niebezpieczną grą było obudzić w rządzie francuskim myśl o możliwości wojny. Niewątpliwie, moje postępowanie było dość zręczne, w razie jeżeli myśl, że ja się nigdy nie zdecyduję na zerwanie, zbudziła w Albertynie nagle pragnienia swobody. I jak uwierzyć, że ona nie ma tych pragnień, nie zgadywać w niej całego sekretnego życia dążącego do zadowolenia jej zboczeń? Wystarczał sam gniew, z jakim wykrzyknęła: „Byłam pewna!”, dowiedziawszy się, że byłem u Verdurinów, i z jakim zdemaskowała się do reszty, mówiąc: „Miała być u nich panna Vinteuil”. Wszystko to potwierdzało widzenie się Albertyny z panią Verdurin, które mi zdradziła Anna. Ale może jednak te nagle żądze swobody (powiadałem sobie, próbując iść wbrew swemu instynktowi) wynikały — o ile istniały — lub miały w końcu wyniknąć z przeciwnej myśli; mianowicie z tego, że ja nigdy nie miałem zamiaru ożenić się z Albertyną, że mówiłem prawdę, robiąc jakby mimo woli aluzje do naszego bliskiego rozstania się, że ją w każdym razie opuszczę prędzej czy później. Dzisiejsza moja scena musiała w takim razie jedynie umocnić tę wiarę i mogła zrodzić w niej to postanowienie: „Jeżeli to ma nieuchronnie przyjść, lepiej skończyć z tym od razu”. Przygotowania wojenne, które najfałszywsza z maksym zachwała dla utrzymania pokoju, stwarzają, przeciwnie, u każdego z przeciwników wiarę, że drugi pragnie zerwania, wiarę, która sprowadza zerwanie, kiedy zaś ono nastąpiło, stwarzają u każdego z przeciwników przeświadczenie, że to druga strona chciała tego. Nawet jeżeli groźba nie była szczerą, sukces skłania do powtórzenia jej. Ale trudno określić ściśle punkt, do którego blef może się udać; jeżeli jeden z graczy posunie się za daleko, drugi, ustępujący dotąd, postępuje naprzód; pierwszy, nie umiejąc już zmienić metody, oswojony z myślą, iż udawać, że się nie boi zerwania, jest najlepszym sposobem uniknięcia go (jak ja tego wieczora z Albertyną), popychany zresztą przez dumę ku temu, aby raczej ulec niż ustąpić, trwa w swojej pogroźce aż do chwili, w której nikt nie może się już cofnąć. W ten sposób blef może się mieszać ze szczerością, zmieniać się z nią kolejno i to, co było grą wczoraj, może się stać rzeczywistością jutro. Może się wreszcie też zdarzyć, że jeden z przeciwników jest w istocie zdecydowany na wojnę; może Albertyna na przykład zamierzała wcześniej lub później przerwać to życie lub przeciwnie,

<sup>1372</sup>książę Monaco — Albert I (1848–1922), książę Monako (od 1889). [przypis edytorski]

<sup>1373</sup>Delcassé, Théophile (1852–1923) — francuski polityk, minister spraw zagranicznych w latach 1898–1905; podczas kryzysu marokańskiego (1905) przekonywał, że mimo gróźb Niemcy nie zdecydują się na wojnę, a nawet gdyby do niej doszło, Wielka Brytania stanie po stronie Francji; przegłosowany przez Radę Ministrów, podał się do dymisji. [przypis edytorski]

może jej ta myśl nigdy nie powstała w głowie i jedynie moja wyobraźnia wyroiła od „a” do „zet” to wszystko.

Takie były hipotezy, które roztrząsałem tego rana w czasie snu Albertyny. Co do ostatniej hipotezy, mogę wszelako powiedzieć, że jeżeli kiedyś później groziłem Albertynie, że ją porzucę, to tylko po to, aby przeciwdziałać jej zachceniom zdróżnej swobody. Nie wyrażała ich, ale wyczuwałem je w tajemniczych niehumorach, słowach, gestach, do których ta myśl była jedynym możliwym kluczem, gdy Albertyna wzbraniała się udzielić mi jakiegokolwiek wytłumaczenia. Często zresztą stwierdzałem te objawy, nie czyniąc żadnej aluzji do możebnego rozstania; wówczas sądziłem, że płyną z dąsów, które skończą się tego samego dnia. Ale te dąsy trwały czasami bez przerwy przez całe tygodnie, w ciągu których zdawało się, że Albertyna chce wywołać konflikt, tak jakby w tej chwili, w mniej lub więcej odległej strefie, widziała jakieś przyjemności, których pozbawiała jej niewola u mnie i które wpływały na nią aż do chwili ich końca, jak owe zmiany atmosferyczne, które nawet w zaciszu przy kominku oddziałują na nasze nerwy, nawet z tak daleka jak gdzieś z Wysp Balearskich.

Tego rana, podczas gdy Albertyna spała i kiedy próbowałem zgadnąć, co w niej siedzi, dostałem list od matki. Wyrażała niepokój, że nie wie nic o naszych postanowieniach: a wyrażała go w tych słowach pani de Sévigné: „Co do mnie, jestem przekonana, że się nie ożeni; ale w takim razie po co mącić spokój dziewczyny, której nie zaślubi nigdy? Po co narażać ją na to, że odrzuci i zlekceważy jakąś dobrą partię. Po co zamącać myśli osoby, której tak łatwo byłoby unikać?”. Ten list sprowadził mnie na ziemię. „Po co szukać tajemniczej duszy, tłumaczyć wyraz twarzy i żyć wśród przeczuć, których nie śmiem zgłębić — powiadałem sobie. — Roilem majaki, a rzecz jest całkiem prosta. Jestem młodym człowiekiem, niezdecydowanym, a chodzi o jedno z owych małżeństw, w których się przez jakiś czas waży, czy rzecz dojdzie do skutku czy nie. Nie ma w tym nic specjalnego dla Albertyny”.

Ta myśl przyniosła mi odprężenie głębokie, lecz krótkie. Prędko powiedziałem sobie: jeśli się bierze rzecz z perspektywy społecznej, można w istocie wszystko sprowadzić do najpotoczniejszej codzienności. Z zewnątrz może w ten sposób bym to widział. Ale wiem dobrze, że prawdziwe — lub co najmniej także prawdziwe — jest wszystko, co myślałem, co czytałem w oczach Albertyny; obawy, które mnie dręczą, problemat, który sobie wciąż stawiam wobec niej. Historia wahającego się oblubieńca i zerwanego małżeństwa może temu odpowiadać, jak recenzja rozsądnego dziennikarza może dać treść sztuki Ibsena. Ale jest coś innego niż to streszczenie faktów. Prawda, że ta inna rzecz istnieje może (gdyby się ją umiało widzieć) u wszystkich wahających się narzeczonych i we wszystkich opóźniających się małżeństwach: życie codzienne też ma swój element tajemnicy. Mogłem zaniedbać ten element, patrząc na życie innych, ale życie Albertyny i swoje przeżywałem od wewnątrz.

Począwszy od tego wieczora, Albertyna nie mówiła mi, tak samo jak nie mówiła w przeszłości: „Wiem, że nie masz do mnie zaufania, spróbuję rozwiązać twoje podejrzenia”. Ale ta niewyrażona nigdy myśl mogłaby posłużyć za klucz do jej najdrobniejszych postępków. Nie tylko urządziła się tak, aby ani na chwilę nigdy nie być sama, i tak, że bym zawsze musiał wiedzieć, co ona robiła, o ile bym nie wierzył jej własnym słowom, ale nawet kiedy miała telefonować do Anny, do garażu, do maneżu<sup>1374</sup> lub gdzie indziej, twierdziła, że nudne jest siedzieć przy telefonie, czekając bez końca na połączenie, i starała się o to, abym siedział koło niej, lub w braku mnie Franciszka, tak jakby się bała, że mogę sobie wyroić jakieś występne telefony, zwiastuny tajemniczych schadzek.

Niestety, wszystko to nie uspakajało mnie. Przyszedł na mnie dzień zniechęcenia. Aimé odesłał mi fotografię Estery, powiadając, że to nie ta. Zatem Albertyna miała inne bliskie przyjaciółki prócz tej, co do której (dzięki temu, że ona źle zrozumiała moje słowa) wykryłem, myśląc, że mówię całkiem o czym innym, że ona dała jej fotografię. Odesłałem tę fotografię Blochowi. Byłbym chciał widzieć zwłaszcza tę, którą Albertyna dała Esterze. Jak wyglądała? Może wydekoltowana, kto wie? Ale nie śmiałem wspomnieć o tym Albertynie (bo zdradziłbym się, że nie widział fotografii) ani Blochowi, przed którym znów nie chciałem się zdradzić, że się interesuję Albertyną. I to nowe życie, któ-

<sup>1374</sup>maneż — pomieszczenie do nauki konnej jazdy, ujeżdżalnia koni. [przypis edytorski]

re wydaloby się tak okrutne każdemu znającemu moje podejrzenia i niewolę Albertyny z zewnątrz, dla Franciszki, uchodziło za życie niezasłużonych przyjemności, które umie zręcznie wyludzać ta „czarownica”, ta „szarlatantka”, jak powiadała Franciszka, używająca znacznie częściej rodzaju żeńskiego niż męskiego, będąc bardziej zawistna o kobiety. A że Franciszka w zetknięciu ze mną wzbogaciła swój słownik nowymi terminami, ale przerabiając je na swój sposób, mówiła nawet o Albertynie, że nigdy nie знаła osoby tak „chytrej”, która umie „naciągać”, grając tak dobrze komedię (co Franciszka, mieszająca łatwo pojęcia szczególne i ogólne i mająca dość mętne idee o rodzajach sztuki dramatycznej, nazywała „grać balet”). Za tę omyłkę Franciszki co do istotnego mego pożycia z Albertyną, sam byłem poniekąd odpowiedzialny przez mętne aluzje, jakim w rozmowie z Franciszką pozwalałem się zręcznie wymykać bądź przez chęć droczenia się z nią, bądź przez chęć wyglądanania na człowieka, jeżeli nie kochanego, to bodaj szczęśliwego. A jednak z mojej zazdrości, z nadzoru, jaki roztaczałem nad Albertyną (co byłbym tak bardzo chciał ukryć przed Franciszką), Franciszka odgadła rychło prawdę, wiedziona — jak spirytysta, który z zawiązanymi oczami znajduje jakiś przedmiot — swoistym wyczuciem tego, co mogło mi być przykre, intuicją niedającą się zmylić moim kłamstwom. Była w tym i owa jasnowidząca nienawiść, która parła Franciszkę nie tylko do wierzenia, że jej nieprzyjaciółki są szczęśliwsze, sprytniejsze, niż były w istocie, ale do odkrycia tego, co może je zgubić i przyspieszyć ich upadek. Franciszka z pewnością nie robiła nigdy żadnych scen Albertynie. Ale znałem jej sztukę insynuacji, sposób, w jaki umiała wyzyskać wymowne *mise en scène*, i nie sądzę, aby się oparła rozkoszy codziennego upokarzania Albertyny rolą, jaką Albertyna odgrywa w naszym domu, drażnienia jej umiejętnie przesadzonym obrazem zamknięcia, na jakie jest skazana. Zastałem raz Franciszkę, jak nasadziwszy wielkie okulary, szperała w moich papierach i wsuwała między nie arkusz, na którym zanotowałem opowiadanie dotyczące się Swanna oraz jego niemożności obycia się bez Odety. Czy zawlekła ten arkusz przez nieuwagę do pokoju Albertyny? Zresztą ponad wszystkie domyślniki Franciszki, które były jedynie basowym, głuchym i perfidnym akompaniamentem, z pewnością musiał się wznosić donośniejszy, wyraźniejszy, natarczywszy, oskarżający i potwarczy głos Verdurinów, podrażnionych tym, że Albertyna trzyma mnie mimo woli — a ja ją rozmyślnie — z dala od małego klanu.

Co się tyczy pieniędzy, które wydawałem na Albertynę, prawie niepodobna było mi ukryć się z tym przed Franciszką, bo nie mogłem przed nią ukryć żadnego wydatku. Franciszka miała mało wad, ale te wady stworzyły w niej, na swoje usługi, prawdziwe talenty, których często jej brakło poza sferą tych wad. Główną z nich była ciekawość w zastosowaniu do pieniędzy wydawanych przez nas na kogoś innego. Kiedy miałem uregulować rachunek, dać napiwek, daremnie się chronilem na stronę, zawsze znalazła pretekst jakiegoś talerza, serwetki, coś, co by jej się pozwoliło przybliżyć. I choćbym jej zostawił jak najmniej czasu, wyprawiając ją wściekły z pokoju, ta kobieta, która już prawie nie widziała, która ledwie umiała rachować, dostrzegała ukradkiem i błyskawicznie obliczała sumę, którą dawałem, wiedziona tym samym zmysłem, który sprawia, że krawiec, widząc cię, szacuje instynktownie materiał twojego ubrania, zgoła nie mogąc się wstrzymać od pomacania go, lub że malarz wrażliwy jest na grę kolorów. I aby nie mogła powiedzieć Albertynie, że przekupuję szofera, uprzedzałem Franciszkę i usprawiedliwiając swój napiwek, mówiłem: „Chciałem dobrze usposobić szofera, dałem mu dziesięć franków”. Bezlitosna Franciszka, której wystarczył jeden rzut oka niby u starego, prawie ślepego orła, odpowiadała: „Ależ nie, pan mu dał czterdzieści trzy franki na piwo. Powiedział, że mu się należy czterdzieści pięć franków, pan dał sto franków, a on wydał tylko dwanaście”. Miała czas sprawdzić i obliczyć cyfrę napiwku, której ja sam nie znałem.

Zastanawiałem się, czy Albertyna, czując swą niewolę, nie zrealizuje sama rozstania, którym jej groziłem, bo życie, zmieniając się, zmienia nasze bajki w rzeczywistość. Za każdym razem kiedy słyszałem otwierające się drzwi, wstrząsał mną ów dreszcz, jaki babka miała w czasie agonii przy każdym moim dzwonku. Nie sądziłem, żeby Albertyna wyszła, nie uprzedziwszy mnie, ale myślała to moja podświadomość, jak podświadomość babki słyszała dzwonek, mimo że sama babka była nieprzytomna. Pewnego rana uczułem nagle niepokój, że Albertyna nie tylko wyszła, ale opuściła dom; usłyszałem trzask, miałem wrażenie, że to jej drzwi. Zakradłem się na palcach, wszedłem, stanąłem w progu. Ujrzałem w mroku wysklepioną koldrę; widocznie Albertyna, wygięta w łuk, spała z nogami



i z głową do ściany. Jedynie przelewające się poza łóżko obfite i czarne włosy pozwoliły mi zrozumieć, że to ona, że nie otworzyła drzwi, nie ruszyła się; uczulem ten nieruchomy i żywy łuk, w którym mieściło się całe życie ludzkie, będący jedyną rzeczą, do której przywiązywałem cenę — uczulem, że ona jest tutaj, w mojej władzy.

Jeżeli celem Albertyny było przywrócić mi spokój, udało się jej to po części; rozum mój pragnął zresztą jedynie dowieść, żem się pomylił co do złych zamiarów Albertyny, tak jak się może omyliłem co do jej przewrotnych instynktów. Niewątpliwie w bilans argumentów dostarczanych mi przez rozum wchodziła moja chęć zadowolenia się nimi. Ale aby być sprawiedliwym i mieć szansę widzenia prawdy, czyż nie trzeba mi było powiedzieć sobie, że jeżeli rozsądek, starając się wrócić mi zdrowie moralne, pozwalał się wieść memu pragnieniu, w zamian za to w tym, co się tyczyło panny Vinteuil, zbroceń Albertyny, jej głodu innego życia, jej projektu zerwania, będących niby wnioskiem wysnutym z jej zbroceń, instynkt mój, pędząc mnie w chorobę, mógł się dać omylić zazdrości? Chyba że się w ogóle przyjmie, iż prawdę można znać jedynie w drodze przeczucia, telepatii. Zresztą owo jej odcięcie od świata — które Albertyna siliła się tak przemyślnie uczynić absolutnym — owo odcięcie, kojąc moją mękę, stłumiło stopniowo podejrzliwość i kiedy wieczór znów sprowadzał udręki, mogłem znaleźć w obecności Albertyny ukojenie pierwszych dni. Siedząc przy łóżku, mówiła ze mną o nowej sukni lub o jakimś przedmiocie, darach, którymi wciąż ją obsypywałem, aby jej uczynić życie miłszym, a więzienie ładniejszym. Zrazu Albertyna myślała tylko o strojach i meblach. Teraz interesowały ją srebra. Toteż wypytywałem się pana de Charlus o stare francuskie srebro, a to dlatego, że kiedyśmy robili projekt posiadania jachtu — projekt uznany za nieosiągalny przez Albertynę, a także przeze mnie, ilekroć każąc mi wierzyć w cnotę Albertyny, moja słabnąca zazdrość nie dławiała już innych pragnień, w których ona nie miała miejsca, a których zaspokojenie wymagało również pieniędzy — poprosiliśmy na wszelki wypadek — i bez wiary Albertyny w to, żebyśmy mieli kiedy jacht — Elstira o rady. Otóż tak samo jak w strojach damskich, tak i w urządzeniu jachtu smak malarza był wyrafinowany i trudny. Uznawał jedynie meble angielskie i stare srebro. To skłoniło Albertynę, od powrotu z Balbec, do czytania dzieł o sztuce jubilerskiej, o stemplach starych grawerów. Ale stare srebro, dwa razy przetopione, raz w momencie traktatu utrechckiego<sup>1375</sup>, kiedy sam król, pociągając swoim przykładem magnatów, oddał własną zastawę, drugi raz w roku 1789, jest niezmiernie rzadkie. Z drugiej strony, mimo iż nowocześni złotnicy odtworzyli całe to srebro wedle rysunków Pont-aux-Choux, Elstir uważał te nowe antyki za niegodne domu kobiety ze smakiem, choćby domu pływającego. Wiedziałem, że Albertyna czytała opis cudów, jakie Roettiers<sup>1376</sup> wykonał dla pani du Barry. Umierała z ochoty — jeżeli coś z tego ocalało — oglądania tych sreber, a ja umierałem z ochoty ofiarowania jej ich. Zaczęła nawet gromadzić kolekcje, które układała z uroczym smakiem za witryną i na które nie mogłem patrzeć bez rozczulenia i bez lęku, bo sztuka, z jaką je układała, była wytworem cierpliwości, pomysłowości, nostalgii, potrzeby zapomnienia — znamienych dla więźniów.

Co się tyczy toalet, podobały się jej w tej chwili zwłaszcza modele Fortuny'ego. Suknie Fortuny'ego, z których jedną widziałem na pani de Guermantes, to były te, które zapowiadał nam Elstir, mówiąc o wspaniałych strojach z czasu Carpaccia<sup>1377</sup> i Tycjana<sup>1378</sup>. Odrodziły się z popiołów, w całym przepychu — bo wszystko musi wrócić, jak jest napisane na sklepieniach Św. Marka i jak to głoszą, pijąc z marmurowych i jaspisowych urn bizantyńskich kapitelów, ptaki oznaczające równocześnie śmierć i zmartwychwstanie. Z chwilą gdy kobiety zaczęły nosić te suknie, Albertyna przypomniała sobie wróżby Elstira i zapragnęła je mieć; mieliśmy się wybrać, aby jej sprawić taką toaletę. Otóż te suknie, nie będąc z tych prawdziwie starych, w których dzisiaj kobiety wyglądają zanad-

<sup>1375</sup> *traktat utrechcki* (1713) — traktat pokojowy zawarty w Utrechcie (Holandia), kończący hiszpańską wojnę sukcesyjną (1701–1714), na mocy którego Filip V (wnuk Ludwika XIV) zachował tron Hiszpanii wraz z koloniami, zrzekając się jednocześnie praw do tronu Francji, zaś Ludwik XIV zrzekł się praw dynastycznych do Hiszpanii, co miało zapewnić zachowanie równowagi sił w Europie. [przypis edytorski]

<sup>1376</sup> *Roettiers, Joseph* (1635–1703) — francuski medalier, złotnik i grawer; grawer generalny, jeden z artystów wykonujących serię medali dla króla Ludwika XIV. [przypis edytorski]

<sup>1377</sup> *Carpaccio, Vittore* (1465–1526) — malarz włoski, przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>1378</sup> *Tycjan, właśc. Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) — włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej. [przypis edytorski]

to teatralnie i które ładniejsze są po prostu na wystawie (szukałem zresztą i takich dla Albertyny), nie miały również chłodu pastiszu, fałszywego antyku. Na sposób dekoracji Sert<sup>1379</sup>, Baksta<sup>1380</sup> i Benoist<sup>1381</sup>, którzy w tej chwili wywoływali w baletach rosyjskich najukochańsze epoki sztuki — przy pomocy dzieł nasyconych ich duchem, a mimo to odrębnych — te suknie Fortuny’ego, ściśle staroświeckie, ale na wskroś oryginalne, ukazywały niby dekorację — nawet z większą siłą wizji niż dekoracja, bo dekorację trzeba by wymyślić — Wenecję zawaloną Wschodem, gdzie te suknie noszono; Wenecję, której były — bardziej niż relikwia w relikwiarzu Św. Marka wywołująca słońce i otaczające turbany — cząstkowym, tajemniczym i dopełniającym kolorem. Wszystko zginęło z owego czasu, ale wszystko się odradzało, wywołane po to, aby przez fragmentarycznie wskrzeszone materie dogress<sup>1382</sup> skojarzyć wspaniałość krajobrazu z kłębieniem się życia.

Raz czy dwa chciałem w tym przedmiocie poradzić się pani de Guermantes. Ale księżna nie lubiła toalet będących kostiumem. Jej samej, mimo że miała takie suknie, w niczym nie było tak do twarzy jak w czarnym aksamicie, z brylantami. W zakresie sukien Fortuny’ego nie była najlepszą doradczynią. Zresztą bałem się, że gdybym ją poprosił o radę, wydawałoby się, że chodzę do niej jedynie wtedy, kiedy jej przypadkiem potrzebuję, podczas gdy od dawna uchylałem się kilka razy na tydzień od jej zaproszeń.

Nie tylko zresztą od księżnej otrzymywałem je w takiej obfitości. Z pewnością ona i liczne panie były zawsze dla mnie bardzo uprzejme. Ale moje odcięcie się zdziesięciokrotniło z pewnością tę uprzejmość. Zdaje się, że w życiu światowym, błahym odbiciu spraw miłości, aby być pożądanym, najlepszym sposobem jest umykać się. Jakiś męczyzna oblicza wszystkie korzystne szczegóły, jakimi może olśnić kobietę, przebiera się bez końca, wdzięczy się i nie uzyska od niej nic z owych względów, jakie ma dlań inna, zdradzana przez niego, którą przykuł do siebie na zawsze, mimo że się jej pokazuje nieumyty i bez żadnej kokieterii. Tak samo, gdyby ktoś ubolewał, że nie jest dość poszukiwany w towarzystwie, poradziłbym mu nie zwiększenie liczby wizyt ani piękniejszy ekwipaż, ale poradziłbym mu, żeby ignorował wszelkie zaproszenia, żył zamknięty w swoim pokoju, nie wpuszczał nikogo — wówczas miałby ogonek pod swymi drzwiami. Lub raczej nie powiedziałbym mu tego: bo ten niezawodny sposób udaje się jedynie jak sposób zyskania miłości; to znaczy jeżeli go ktoś nie obrał umyślnie; jeżeli na przykład zamknie się w domu dlatego, że jest poważnie chory lub myśli, że jest chory, lub trzyma w domu uwięzioną kochankę milszą mu od świata (albo wszystkie trzy rzeczy naraz). I to wystarczy dla świata — mimo iż świat nie wie o istnieniu tej kobiety, po prostu dlatego, że się bronisz przed nim — aby cię wołał od wszystkich, co mu się narzucają, i aby się zapalił do ciebie.

— Trzeba nam się będzie zająć twoimi sukniemi od Fortuny’ego — rzekłem pewnego wieczora do Albertyny. I z pewnością dla niej, która długo pragnęła tych sukien i długo wybierała je ze mną, która zachowała dla nich zawczasu miejsce nie tylko w szafie, ale w wyobraźni, posiadać te suknie, których każdy szczegół długo badała, aby się zdecydować między tyloma innymi, byłoby czymś więcej niż dla kobiety zbyt bogatej, która ma więcej sukien, niż pragnie, i nie patrzy nawet na nie. Jednak mimo uśmiechu, jakim Albertyna podziękowała, mówiąc: „Kochany jesteś”, zauważyłem u niej wymowny wyraz zmęczenia, nawet smutku.

W oczekiwaniu aż te suknie będą gotowe, poprosiłem o pożyczenie mi paru (czasem nawet tylko materii) i ubierałem w nie Albertynę, drapowałem je na niej; przechadzała się po pokoju z majestatem dogressy i z wdziękiem manekina. Ale niewola w Paryżu stała mi się cięższa od widoku tych sukien wskrzeszających mi Wenecję. Zapewne Albertyna była o wiele bardziej więźniem ode mnie. I ciekawe było, w jaki sposób poprzez mury więzienia los, który przeobraża ludzi, mógł ją przeniknąć i zmienić w samej jej istocie, z młodej dziewczyny z Balbec robiąc nudną i posłuszną brankę. Tak, mury więzienia

<sup>1379</sup>Sert, José María (1874–1945) — hiszpański malarz pochodzący z Katalonii, szczególnie znany z malowideł ściennych na budynkach publicznych; projektant kostiumów dla Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>1380</sup>Bakst, Léon (1866–1924) — rosyjski malarz, projektant scenografii i kostiumów teatralnych pochodzenia białoruskiego, członek Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>1381</sup>Benoist, Benoît (1870–1960) — rosyjski malarz, ilustrator i scenograf, tworzący w stylu secesji; projektował awangardowe scenografie do przedstawień Baletów Rosyjskich Diagilewa. [przypis edytorski]

<sup>1382</sup>dogressa (wł.) — małżonka doży, najwyższego urzędnika Republiki Weneckiej. [przypis edytorski]

nie przeszkodziły przedostać się temu wpływowi; może nawet one go stworzyły. To nie była już ta sama Albertyna, bo nie była już, jak w Balbec, bez ustanku pomykająca na rowerze, nieuchwytna z powodu mnóstwa małych plaż, gdzie nocowała u przyjaciółek i gdzie zresztą kłamstwa jej czyniły ją trudniejszą do osiągnięcia; dlatego, bo zamknięta u mnie, posłuszna i samotna, nie była już nawet tym, czym w Balbec, o ile zdołałem jej dopaść, była na plaży: istotą wymykającą się, ostrożną i krętą, której obecność wydłużała się w tyle zgrabnie pokrywanych „randek”, potęgujących miłość moją cierpieniem, które mi to zadawało; istotą, w której pod jej chłodem dla innych i pod banalnymi odpowiedziami czuło się wczorajszą i jutrzejszą schadzkę, dla mnie zaś myśl wzdychającą i chytrą; nie była dziś tą samą, bo wiatr od morza nie wzdymał już jej sukien, bo podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa<sup>1383</sup>. Dziś była ociężałą niewolnicą, której rad byłbym się pozbyć.

Wówczas, aby zmienić bieg myśli, sprzykrzywszy sobie karty lub walcaby z Albertyną, prosiłem, żeby mi coś zagrała. Leżałem w łóżku, a ona siadała w drugim końcu pokoju przy pianoli, między skrzydłami biblioteki. Wybierała utwory całkiem nowe lub te, które mi przegrała dopiero raz czy dwa, bo znając mnie już trochę, wiedziała, że lubię chłonąć jedynie to, co mi było jeszcze ciemne, szczęśliwy, że mogę w ciągu tych kolejnych produkcji kojarzyć z sobą — dzięki rosnącemu, ale niestety zniekształcającemu i obcemu światłu mojej inteligencji — fragmentaryczne i przerywane linie konstrukcji zrazu niemal zatopionej we mgle. Wiedziała i jak sądzę, rozumiała radość, jaką dawał wówczas memu duchowi trud modelowania bezkształtnej jeszcze mgławicy. Zgadywała, że za trzecim lub czwartym wykonaniem inteligencja moja, objąwszy wszystkie partie, tym samym pomieściwszy je w jednej odległości, nie potrzebując już ustosunkowywać się do nich czynnie, rozpostarła je i ustaliła na jednej płaszczyźnie. Ale Albertyna nie przechodziła do innego utworu, bo nie zdając sobie może dobrze sprawy z procesu, który we mnie zachodził, wiedziała, iż w chwili gdy praca mojego intelektu zdołała rozproszyć tajemnicę dzieła, rzadko zdarzało się, aby przez kompensatę, w ciągu swego niewdzięcznego trudu, nie uszczknął on jakiejś wartościowej refleksji. I w dniu gdy Albertyna mówiła: „Damy ten rulon Franciszce, żeby go wymieniła na inny”, często znaczyło to dla mnie jeden utwór muzyczny na świecie mniej, ale jedną prawdę więcej.

Podczas gdy Albertyna grała, z bujnych jej włosów mogłem widzieć jedynie czarny kok w kształcie serca tuż koło ucha, niby u infantki Velasqueza<sup>1384</sup>. Tak samo jak na bryłowatość tego Anioła muzyki składały się mnogie łączniki między różnymi punktami przeszłości, które wspomnienie jej zajmowało we mnie, i jego rozmaite siedziby, od wzroku aż do najbardziej wewnętrznych wrażeń mojej istoty, pomagających mi wnikać w nią samą, tak utwór, który wykonywała, miał też bryłowatość stworzoną przez nierówną widzialność rozmaitych fraz, zależnie od stopnia, w jakim mi się udało je rozjaśnić i połączyć między sobą linie konstrukcji, która mi się zrazu wydała całkowicie niemal utopiona we mgle.

Zdałem sobie dobrze sprawę, że absurdem jest być zazdrosnym o pannę Vinteuil i o jej przyjaciółkę wobec tego, że Albertyna od czasu swego wyznania wcale nie starała się ich widzieć i z wszystkich naszych projektów wilegiatury<sup>1385</sup> dobrowolnie wyłączyła Combray, tak bliskie Montjouvain. Toteż często prosiłem Albertynę, żeby mi grała utwory Vinteuila, i nie czułem przy tym bólu. Jeden jedyny raz muzyka Vinteuila stała się dla mnie pośrednio powodem zazdrości. W istocie Albertyna, wiedząc, że słyszał utwór Vinteuila w wykonaniu Morela u pani Verdurin, wyraziła pewnego wieczora chęć usłyszenia i poznania Morela. Było to rychło po tym, jak się dowiedziałem o istnieniu listu Lei, mimo woli przejętego przez pana de Charlus. Zastanawiałem się, czy Lea nie opowiadała Albertynie o Morelu. Słowa „świnko, perwersiaczko” przypominały mi się ze zgrozą. Ale właśnie dlatego, że w ten sposób utwór Vinteuila kojarzył się boleśnie

<sup>1383</sup>podciąłem jej skrzydła, bo przestała być boginią zwycięstwa — nawiązanie do wizerunku uskrzydłonej greckiej bogini zwycięstwa, który ukazuje hellenistyczna rzeźba *Nike z Samotraki*, od 1884 eksponowana w pałacu Luwrze. [przypis edytorski]

<sup>1384</sup>Velasquez, *Diego* (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista; jego obraz *Panny dworskie* z 1656 przedstawia pięcioletnią wówczas infantkę (córkę królewską) Małgorzatę Teresę w otoczeniu dworzan. [przypis edytorski]

<sup>1385</sup>wilegiatura (daw.) — dłuższy wypoczynek na wsi. [przypis edytorski]

już nie z panną Vinteuil i jej przyjaciółką, ale z Leą, odkąd spowodowany przez Leę ból się uśmierzył, mogłem słuchać spokojnie tej muzyki; jedna choroba wyleczyła mnie z możliwości innych. I pewne frazy Vinteuila, frazy niespostrzeżone u pani Verdurin, wówczas będące niby ciemne i niewyraźne poczwarki, stawały się olśniewającą architekturą; niektóre z nich stawały mi się bliskie, i to takie, które ledwie rozróżniłem zrazu, które w najlepszym razie wydały mi się brzydkie. Nie przyszłoby mi na myśl, że są jak owi ludzie antypatyczni z pierwszego wejrzenia, a których dopiero z czasem poznaje się naprawdę takimi, jak są. Między tymi stanami zachodziło istotne przeobrażenie. Z drugiej strony, frazy, które za pierwszym razem u pani Verdurin rozróżniłem, ale ich nie rozpoznałem, utożsamiały mi się teraz z frazami z innych dzieł, na przykład z *Wariacji* na organy. Fraza ta u pani Verdurin przeszła niepostrzeżona przeze mnie w septyecie, gdzie jednak, niby święta, która zstąpiła ze stopni sanktuarium, znalazła się wmieszana między domowe wróżki muzyka. Z drugiej strony, inna fraza, która mi się niegdyś wydała zbyt mało melodyjna, zbyt mechaniczna w rozkołysanym rytmie radości południowych dzwonów, stała mi się teraz najmiłszą, czy że się przyzwyczaiłem do jej brzydoty, czy że odkryłem jej piękno. Tę reakcję po zawodzie, jaki zrazu sprawiają arcydzieła, można przypisać osłabnięciu pierwotnego wrażenia lub wysiłkowi potrzebnemu do wydobycia prawdy. Dwie hipotezy, wciąż się następczające dla wszystkich ważnych zagadnień: rzeczywistości Sztuki, Wieczności duszy; trzeba wybrać między nimi; w muzyce Vinteuila wybór ten następczał się co chwila w wielu postaciach. Ta muzyka zdawała mi się na przykład czymś prawdziwszym niż wszystkie znane mi książki. Chwilami myślałem, że to pochodzi stąd, iż skoro to, co odczuwamy jako życie, nie objawia się nam w postaci idei, wykład literacki, to znaczy intelektualny, tych odczuć, zdając z nich sprawę, tłumaczy je, analizuje, ale nie oddaje ich jak muzyka, w której dźwięki przybierają akcent jakiejś istoty, odtwarzają niejako owo wewnętrzne i szczytowe ostrze wrażeń, cząstkę dającą nam swoiste i odnajdywane chwilami upojenie. Ale powiadając na przykład: „Co za pogoda! Co za piękne słońce!”, nie udzielamy zgoła naszych odczuć komuś drugiemu, w którym to samo słońce i ta sama pogoda rodzą odmienne wibracje. W muzyce Vinteuila były właśnie owe wizje, niepodobne do wyrażenia i prawie niemożliwe do stwierdzenia; kiedy w momencie zasypiania muskają nas pieśczętą swego nierealnego czaru, w chwili kiedy świadomość nas już opuściła, oczy zamykają się i zanim mieliśmy czas poznać nie tylko Niewymowne, ale Niewidzialne, zasypiamy. Zdawało mi się nawet (kiedy się poddawałem hipotezie, wedle której sztuka byłaby czymś realnym), że muzyka może wyrazić nawet więcej niż czysto nerwową radość z powodu pogody lub nocy spędzonej w palarni opium; upojenie realniejsze, płodniejsze, przynajmniej wedle moich przeczuć. Niepodobna, aby jakaś rzeźba, muzyka rodząca wzruszenie, które odczuwamy jako coś wyższego, czystsze, prawdziwszego, nie odpowiadała jakiejś duchowej rzeczywistości. Musi ją symbolizować, skoro daje owo wrażenie głębi i prawdy. Fraza Vinteuila najbliższa była owej swoistej rozkoszy, jaką odczułem niekiedy, na przykład wobec wież w Martinville, wobec kilku drzew przy drodze w Balbec lub w prostszej formie na początku tego dzieła, pijąc pewnego dnia herbatę.

Nie przeciągając tego porównania, czułem, że jasne dźwięki, hałaśliwe kolory, które nam Vinteuil przesyłał ze świata, w którym tworzył, przesunęły przed moją wyobraźnią — uporczywie, ale zbyt szybko, aby to mogła pochwycić — coś, co mógłbym porównać z nasyconym wonią jedwabiem geranii. We wspomnieniu mglistość tę można jeżeli nie zgłębić, to bodaj określić dzięki schwytceniu okoliczności tłumaczących, czemu pewien smak mógł nam przypomnieć wrażenia świetlne. Ale ponieważ mgliste poczucia obudzone przez Vinteuila pochodziły nie ze wspomnienia, lecz z wrażenia (jak wrażenie wież w Martinville), trzeba by znaleźć dla zapachu geranii w jego muzyce nie wytłumaczenie fizyczne, ale głęboki równoważnik; trzeba by odkryć nieznaną i barwną biesiadę (której dzieła Vinteuila zdawały się oderwanymi fragmentami, odpryskami o szkarłatnym łomie), sposób, w jaki on „słyszał” i rzutował z siebie wszechświat. Owa nieznaną jakość jedyne go świata, którego żaden inny muzyk nigdy nam nie pokazał, może to jest — mówiłem do Albertyny — najautentyczniejszy dowód geniuszu, o wiele bardziej niż zawartość samego dzieła.

— Nawet w literaturze? — pytała Albertyna.

— Nawet w literaturze.

I wracając myślą do monotonii dzieł Vinteuila, tłumaczyłem Albertynie, że wielcy pisarze zawsze stworzyli tylko jedno dzieło lub raczej zawsze odbijali poprzez różne środowiska tę samą piękność, którą przynoszą na świat.

— Gdyby nie było tak późno, maleńka — mówiłem — wykazałbym ci tę samą identyczność u wszystkich pisarzy, których czytasz, podczas gdy ja śpię. Owym typowym frazom, które zaczynasz poznawać równie dobrze jak ja, Albertynko, tym samym w sonacie, septyecie, w innych dziełach, odpowiadałyby może na przykład, u Barbeya d'Aureville<sup>1386</sup> ukryta rzeczywistość zdradzona jakimś materialnym śladem, fizjologiczny rumieniec Urzeczonej, panny Aimee de Spens, Clotte, ręka ze *Szkarłatnej zasłony*, stare zwyczaje i obyczaje, stare porzekadła, stare i osobliwe rzemiosła, za którymi kryje się Przeszłość, ustna historia tworzona przez miejscowych pasterzy, szlachetne normandzkie miasta pachnące Anglią, a ładne jak szkockie sioło, źródło złych uroków, na które nie ma sposobu, Vellini, pasterz, to samo uczucie lęku w jakimś szczególe, czy to będzie żona szukająca męża w *Starej kochance* lub w *Urzeczonej* mąż przebiegający step i sama Urzeczonej wychodząca z kościoła. A owa geometria kamieniarza obrabiającego ciosy w powieściach Tomasza Hardy<sup>1387</sup>, to są również swoiste frazy Vinteuila.

Frazy Vinteuila przywiodły mi na myśl frazę z *Sonaty*; wspomniałem Albertynie, że to był niby narodowy hymn miłości Swanna i Odety, „rodziców Gilberty, którą znasz”.

— Mówiłaś raz, że Gilberta nie ma „podejrzanych manier”. Ale czyż nie próbowała nawiązać stosunków z tobą? Wspominała mi o tobie.

— Owszem, rodzice posyłali po nią powóz na lekcje, kiedy była słota, więc zdaje mi się, że mnie odwiozła raz do domu i pocałowała mnie — rzekła Albertyna po chwili, śmiejąc się, tak jakby to było coś zabawnego. — Spytała nagle, czy lubię kobiety. — Ale jeżeli Albertynie tylko się zdawało, iż sobie przypomina, że ją Gilberta odwiozła, jak mogła zacytować z taką ścisłością dziwne pytanie Gilberty? — Nawet nie wiem — ciągnęła Albertyna — co mnie napadło, żeby ją zmistyfikować; odpowiedziałam, że tak. — Można by rzec, że Albertyna bała się, czy mi Gilberta tego nie opowiedziała, i nie chciała, żebym mógł stwierdzić kłamstwo. — Ale nie robiłyśmy nic a nic. — To dziwne, żeby nic nie robiły, wymieniwszy te zwierzenia, zwłaszcza że już przedtem całowały się w powozie, jak wspomniała Albertyna. — Odwiozła mnie w ten sposób cztery czy pięć razy, może trochę więcej, to wszystko.

Bardzo mi trudno przyszło nie zadać żadnego pytania, ale opanowując się, aby udać, że nie przywiązuję do tego żadnej wagi, wróciłem do Tomasza Hardy.

— Przypominasz sobie kamieniarzy w *Judzie nieznanym*, w *Ukochanej* bloki kamieni, które ojciec dobywa z wyspy, zwożone statkami, gromadzące się w pracowni syna, gdzie zmieniają się w posągi; w *Błękitnych oczach* paralelizm grobów, a także równoległą linię statku i przylegające wagony, gdzie znajduje się dwoje kochanków i zmarła; paralelizm między *Ukochaną*, gdzie mężczyzna kocha trzy kobiety, a *Błękitnymi oczami*, gdzie kobieta kocha trzech mężczyzn itd.; słowem, wszystkie te powieści dające się ułożyć na sobie niby prostopadłe domy wznoszące się na skalistej wyspie. Nie mogę ci tak w ciągu minuty pokazać tego u największych, ale ujrzysz w Stendhalu<sup>1388</sup> pewne poczucie wysokości wiążące się z życiem duchowym: wyniosłe miejsce, gdzie Julian Sorel jest więźniem; wieża, na której szczycie zamknięto Fabrycego, dzwonnica, gdzie ksiądz Blanés zajmuje się astrologią i skąd Fabrycy widzi tak daleko. Mówiłaś, żeś widziała parę obrazów Vermeera; zdajesz sobie sprawę, że to są fragmenty jednego świata, że to jest zawsze — przy całym

<sup>1386</sup> Barbey d'Aureville, Jules (1808–1889) — francuski pisarz, poeta, publicysta, wpływowy krytyk literacki; prekursor dekadentyzmu; autor utworów o mrocznej tematyce, nawiązującej do fantastyki i literatury grozy, m.in. powieści: *Dawna kochanka* (1851, wyd. pol. 1928), której bohaterką jest tajemnicza Vellini, *L'Ensorcelée* (1852, wyd. pol. 1997 pt. *Oczarowana*), w której występuje Clotilde Mauduit, zwana Clotte, *Le chevalier Destouches* (1864), której bohaterką jest Aimee de Spens, oraz zbioru opowiadań *Les Diaboliques* (1874), w skład którego wchodzi *Le Rideau cramoisi* (Szkarłatna zasłona). [przypis edytorski]

<sup>1387</sup> Hardy, Thomas (1840–1928) — angielski powieściopisarz, przedstawiciel naturalizmu; autor m.in. powieści *A Pair of Blue Eyes* (1873; wyd. pol. *Szafirowe oczy*, 1929), *Juda nieznanym* (1895, wyd. pol. 1963), *The Well-Beloved* (Ukochana, 1892). [przypis edytorski]

<sup>1388</sup> Stendhal, właśc. Marie-Henri Beyle (1783–1842) — francuski pisarz epoki romantyzmu, prekursor realizmu w literaturze; twórca doskonałych portretów psychologicznych bohaterów i analiz ich namiętności na tle społeczno-obyczajowym; jego najsłynniejsze powieści to *Czerwone i czarne* (1830), której bohaterem jest ubogi chłopiec Julian Sorel, w 1864 umieszczona na indeksie ksiąg zakazanych, oraz *Pustynia parmeńska* (1839), opowiadająca dzieje Fabrycego del Dongo. [przypis edytorski]

talencie malarza — ten sam stół, ten sam dywan, ta sama kobieta, ta sama nowa i jedyna piękność, zagadka w owej epoce, w której nic nie jest do niej podobne ani jej nie tłumaczy, jeżeli nie będziemy szukali powinowactw w tematach, ale zechcemy wydobyć swoiste wrażenie koloru. I ot, to nowe piękno pozostaje identyczne we wszystkich dziełach Dostojewskiego: kobieta Dostojewskiego (równie odrębna jak kobieta Rembrandta<sup>1389</sup>) ze swoją tajemniczą twarzą, której ujmujący czar zmienia się nagle tak jakby wprzód grała komedię dobroci, w straszliwe zuchwałstwo (mimo iż w gruncie zdaje się, że jest raczej dobra), czyż to nie jest zawsze ta sama osoba, czy nią będzie Nastasia Filipowna, pisząca listy miłosne do Aglae i wyznająca, że jej nienawidzi, lub w wizycie zupełnie identycznej — identycznej z tą również, w czasie której Nastazja Filipowna znieważa rodziców Wani — Gruszeńka, tak miła u Katarzyny Iwanowny (która spodziewała się, że ona jest straszna), potem nagle odsłaniająca swoją złość, znieważając Katarzynę Iwanownę (mimo że Gruszeńka w gruncie jest dobra); Gruszeńka, Nastasia, postaci równie oryginalne, równie tajemnicze nie tylko jak kurtyzany Carpaccia, ale jak Betszeba Rembrandta. Jak Vermeer tworzy pewną duszę, pewien kolor materii i miejsc, tak Dostojewski tworzy nie tylko ludzi, ale mieszkania. Tragiczny dom w *Zbrodni i karze* z jego dwornikiem, czyż nie jest prawie równie cudowny jak arcydzieło tragicznego domu u Dostojewskiego, ten ciemny i tak długi, i tak wysoki i, taki obszerny dom Rogożyna, gdzie Rogożyn zabija Nastazję Filipownę? To nowe i straszliwe piękno domu, to nowe i złożone piękno twarzy kobiecej, oto co Dostojewski przyniósł jedyne światu, a zestawienia, jakie niektórzy czynią między nim a Gogolem<sup>1390</sup> lub Paul de Kockiem<sup>1391</sup> są całkiem czcze, jako obce tej tajemnej piękności. Mówiłem, że w różnych powieściach powtarza się ta sama scena; ale także w jednej powieści powtarzają się te same sceny, te same figury, jeżeli powieść jest bardzo długa. Mógłbym ci łatwo dowieść, że w *Wojnie i pokoju*<sup>1392</sup> jest pewna scena w powozie...

— Nie chciałam ci przerywać, ale skoro widzę, że porzucasz Dostojewskiego, boję się, że bym zapomniała. Kochanie, coś ty chciał powiedzieć kiedyś, mówiąc: „To jest tak, jak ów posmak Dostojewskiego u pani de Sévigné”. Przyznam się, że nie rozumiałam. Te rzeczy wydają mi się tak różne.

— Chodź, dziewczuszko, niech cię uściskam, aby ci podziękować, że tak dobrze pamiętasz to, co mówię; potem wrócisz do pianoli. I przyznaję, że to, com wtedy mówił, było dość głupie. Ale powiedziałem to z dwóch przyczyn. Pierwsza — szczególna. Faktem jest, że pani de Sévigné, jak Elstir, jak Dostojewski, zamiast pokazywać rzeczy w porządku logicznym, czyli zaczynając od ich przyczyny, pokazuje najpierw skutek, złudę, która nas uderza. W ten właśnie sposób Dostojewski pokazuje osoby. Ich postęпки wydają nam się równie zwodne jak owe efekty Elstira, gdzie morze robi wrażenie nieba. Ze zdumieniem dowiadujemy się, że jakiś skryty mruk jest w gruncie przeznaczonym człowiekiem lub odwrotnie.

— Tak, ale daj mi przykład z pani de Sévigné.

— Wyznaję — odparłem, śmiejąc się — że to jest bardzo naciągane; ale ostatecznie mógłbym znaleźć przykłady.

— Ale czy Dostojewski zamordował kiedyś kogoś? Wszystkie jego powieści, które znam, mogłyby mieć tytuł *Historia pewnej zbrodni*. To u niego istna obsesja; to nie jest naturalne, że on wciąż o tym mówi.

— Nie sądzę, Albertynko; nie znam na tyle jego życia. Pewne jest, że jak wszyscy, i on poznał grzech, w tej czy w innej formie, a prawdopodobnie w formie wzbronionej przez prawo. W tym sensie musiał być trochę zbrodniarzem, jak jego bohaterowie, którzy nie

<sup>1389</sup>Rembrandt, właśc. *Rembrandt Harmenszoon van Rijn* (1606–1669) — holenderski malarz i grafik okresu baroku, mistrz światłocienia; autor m.in. obrazu *Batszeba w kąpielu* (1654), ukazującego nagą kobietę w kąpielu, postać z biblijnej opowieści o uwiedzeniu zamężnej Batszeby przez króla Dawida (2 Sam 11, 2–17). [przypis edytorski]

<sup>1390</sup>Gogol, *Nikolaj* (1809–1952) — rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; jego najwybitniejsze dzieła to komedia *Rewizor* (1836) i powieść *Martwe dusze* (1842). [przypis edytorski]

<sup>1391</sup>Kock, *Paul de* (1794–1871) — francuski pisarz, autor wielu rubasznych, swobodnych obyczajowo powieści o życiu paryskim. [przypis edytorski]

<sup>1392</sup>*Wojna i pokój* — powieść historyczna rosyjskiego pisarza Lwa Tołstoja, pisana w latach 1863–1869, często uznawana za rosyjską epopeję narodową. [przypis edytorski]

są zresztą całkowicie zbrodniarzami, mają prawo do okoliczności łagodzących. A nawet nie było może konieczne, aby on był zbrodniarzem. Nie jestem powieściopisarzem; może jest, iż twórców pociągają pewne formy życia, których nie doświadczyli osobiście. Jeśli z tobą pojedę do Wersalu, jakieśmy się umówili, pokażę ci portret najzacniejszego człowieka, najlepszego męża, Choderlos de Laclos<sup>1393</sup>, który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę<sup>1394</sup>; a na wprost niego portret pani de Genlis<sup>1395</sup>, która pisała opowiadania moralne, a nie tylko zdradzała księżnę Orleańską, ale zdręczyła ją, odciągając od niej dzieci. Uznaję jednak, że u Dostojewskiego ta obsesja morderstwa ma coś szczególnego i czyni mi go kimś bardzo obcym. Już to mnie zdumiewa, kiedy słyszę w ustach Baudelaire'a<sup>1396</sup>:

*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie  
N'ont pas encor brodé de leurs plaisants dessins  
Le canevas banal de nos piteux destins,  
C'est que notre âme, hélas! n'est pas assez hardie.* <sup>1397</sup>

Ale mogę bodaj przypuszczać, że Baudelaire nie jest szczery. Podczas gdy Dostojewski... Wszystko to wydaje mi się niesłychanie odległe ode mnie, chyba że posiadam w sobie strefy, których nie znam, człowiek bowiem realizuje się jedynie stopniowo. U Dostojewskiego znajduję studnie straszliwie głębokie, ale poniekąd odosobnione od duszy ludzkiej. Ale to jest wielki twórca. Zresztą świat, który on maluje, robi naprawdę wrażenie, że jest stworzony przez niego. Wszystkie te powtarzające się wciąż błazny, wszystkie te Lebedewy, Karamazowy, Iwołginy, Segriewy, cała ta nieprawdopodobna zgraja to ludzkość fantastyczniejsza od tej, która zaludnia *Straż nocną*<sup>1398</sup> Rembrandta. I może jest ona fantastyczna w ten sam sposób, przez oświetlenie i kostium, a w gruncie jest zwyczajna. W każdym razie jest zarazem pełna głębokich i jedynek prawd, właściwych tylko Dostojewskiemu. Te błazny niemal robią wrażenie typu, który już nie istnieje, jak pewne typy dawnej komedii, a jednak jak one odsłaniają prawdziwe strony duszy! Drażni mnie uroczysty sposób, w jaki się mówi i pisze o Dostojewskim. Czy zauważyłaś rolę, jaką miłość własna, duma grają u jego figur? Można by rzec, że dla niego miłość i najzacieklejsza nienawiść, dobroć i zdrada, nieśmiałość i bezczelność, to jedynie dwa stany jednej i tej samej natury, ile że miłość własna, duma nie pozwala Aglae, Nastazji, kapitanowi, którego Mitia ciągnie za brodę, Krasotkinowi, wrogowi, a zarazem przyjacielowi Alioszy, pokazać się takimi, jakimi są w istocie. Ale są tam jeszcze inne skarby. Bardzo mało znam jego książek. Ale czyż to nie jest iście rzeźbiarski i prosty motyw, godny najstarożytniejszej sztuki, nieprzerwany i powtarzający się fryz przedstawiający zemstę i ekspiację — ta zbrodnia starego Karamazowa wpędzającego w ciężą biedną wariatkę, tajemniczy, zwierzęcy, niewytłumaczony odruch, pod wpływem którego matka, stając się bezwiednym narzędziem losu, posłuszna również bezwiednie instynktowi macierzyńskiemu, może mieszaninie urazy i fizycznej wdzięczności wobec gwałciciela, idzie rodzic

<sup>1393</sup>Laclos, Pierre Choderlos de (1741–1803) — francuski polityk i wojskowy, autor powieści w listach *Niebezpieczne związki*, której od początku towarzyszyła aura skandalu obyczajowego i opinia książki niemoralnej, gdyż ukazywała parę narcystycznych byłych kochanków, markizę de Merteuil i wicehrabiego de Valmont, którzy używają uwodzenia do kontrolowania i wykorzystywania innych, ciesząc się swoimi okrutnymi gramami i przechwalając się talentem manipulacji. [przypis edytorski]

<sup>1394</sup>Choderlos de Laclos, który napisał najokropniejszą, najprzewrotniejszą książkę — *Niebezpieczne związki*. [przypis tłumacza]

<sup>1395</sup>pani de Genlis, właśc. Stéphanie Félicité, du Crest de Saint-Aubin, hrabina de Genlis (1746–1830) — wiolelnia guwernantka dzieci księcia Ludwika Filipa Orleańskiego, autorka pism traktujących o edukacji dzieci i młodzieży, a także krótkich komedii pisanych z myślą o młodym odbiorcy, pamiętników oraz powieści sentymentalnych. [przypis edytorski]

<sup>1396</sup>Baudelaire, Charles (1821–1867) — francuski poeta, krytyk sztuki, prekursor symbolizmu i poezji nowoczesnej, dekadent; uznawany za jednego z tzw. „poetów przeklętych”; jego twórczość była kontrowersyjna, samego autora oskarżano o niemoralność ze względu na podejmowaną tematykę w swych utworach: dewiacje, rzekome popieranie satanizmu, prostytutka, życie marginesu społecznego itd. [przypis edytorski]

<sup>1397</sup>*Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie...* (fr.) — Jeśli gwałt, trucizna, sztylet i pożar nie zahafowały dotąd swoim uciśnionym wzorem banalnej kanwy naszego mizernego istnienia, to dlatego, że dusza nasza nie jest, niestety, dość śmiała [Baudelaire, *Kwiaty zła: Do czytelnika*; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>1398</sup>*Straż nocna* — obraz holenderskiego malarza Rembrandta Harmenszoon van Rijn, namalowany w 1642, przedstawiający kompanię straży obywatelskiej z Amsterdamu. [przypis edytorski]

u starego Karamazowa? Oto pierwszy epizod, tajemniczy, wielki, dostojny jak stworzenie Kobiety w rzeźbach w Orvieto<sup>1399</sup>. A jako odpowiednik — drugi epizod, o dwadzieścia lat późniejszy: zamordowanie starego Karamazowa, hańba spadająca na ród Karamazowych przez tego syna wariatki, Smerdiakowa; a rychło potem ten sam akt tajemniczo monumentalny i niewytłumaczony, o równie ciemnym i naturalnym pięknie jak urodzenie w ogrodzie starego Karamazowa — to Smerdiakow, wieszający się po spełnieniu zbrodni. Co się tyczy Dostojewskiego, nie porzuciłem go tak bardzo, jak ci się zdawało, kiedy wspominał o Tolstoju, który go mocno naśladował. U Dostojewskiego jest w stanie posępnego zgęszczenia wiele z tego, co się rozwinie u Tolstoję. Jest u Dostojewskiego ta pierwotna chmurność prymitywów, którą uczniowie rozjaśniają.

— Kochanie, jak to źle, że ty jesteś taki leniwy. Pomyśl, o ileż ty patrzysz na literaturę bardziej interesująco, niż nas jej uczą w szkole; przypominam sobie wypracowania, jakie nam kazano robić o *Esterze*: „Monsieur”, pamiętasz — rzekła, śmiejąc się, nie tylko, aby sobie zażartować z nauczycieli i z siebie, ile dla przyjemności odnalezienia w swojej pamięci, w naszej wspólnej pamięci, dość już dawnego wspomnienia.

Ale podczas gdy Albertyna mówiła do mnie, a ja myślałem o Vinteuilu, z kolei nastroczała mi się inna hipoteza, hipoteza materialistyczna, hipoteza nicości. Zaczynałem wątpić; powiadałem sobie, iż ostatecznie to by było możliwe... jeżeli niektóre frazy Vinteuila zdają się wyrazem pewnych stanów duszy, analogicznych do stanu, w jaki mnie wprawił smak magdalenki zmaczanej w herbacie, nic nie dowodzi, aby mglistość takich stanów była znamieniem ich głębi; może być wyrazem tylko tego, że jeszcze nie umieliśmy ich zanalizować; tym samym nie byłoby w nich nic realniejszego niż w innych. A jednak owo szczęście, owo poczucie pewności w szczęściu, wówczas gdy piłem tę herbatę, kiedy na Polach Elizejskich<sup>1400</sup> wdychałem woń stęchlizny, to nie było złudzenie. W każdym razie — powiadał mi duch wątpienia — nawet jeżeli te stany są w życiu głębsze od innych i jeżeli niepodobna ich zanalizować właśnie dla tej przyczyny, ponieważ mobilizują zbyt wiele sił, z których nie zdaliśmy sobie jeszcze sprawy, czar niektórych fraz Vinteuila każe myśleć o nich, bo jest również niepodobny do zanalizowania, ale to nie dowodzi, aby miał tę samą głębię; piękno czystej frazy muzycznej wydaje się łatwo obrazem lub bodaj spokrewnia się z intelektualnym wrażeniem, jakiegośmy doznali, ale po prostu dlatego, że jest aintelektualne. W takim razie dlaczego wydają się nam osobliwie głębokie owe tajemnicze frazy, nawiedzające niektóre dzieła i ten septet Vinteuila?

Nie tylko zresztą jego utwory grywała mi Albertyna; pianola była chwilami dla nas niby naukową (historyczną i geograficzną) latarnią magiczną; na ścianach tego paryskiego pokoju, zaopatrzonego — w porównaniu z pokojem w Combray — w wynalazki bardziej nowoczesne, wedle tego czy Albertyna grała Rameau<sup>1401</sup> czy Borodina<sup>1402</sup>, ukazywał się moim oczom to dywan z XVIII wieku, usiany amorkami na tle róż, to wschodni step, gdzie dźwięki giną w bezmiarach przestrzeni i w piłśni śniegu. Te ulotne dekoracje były zresztą jedyną ozdobą mego pokoju; o ile bowiem w chwili gdy wziął spadek po cici Leonii, przyrzekłem sobie kolekcjonować jak Swann obrazy i posągi, obecnie wszystkie pieniądze szły na konie, auto i toalety dla Albertyny. Ale czyż mój pokój nie zawierał dzieła sztuki cenniejszego od wszystkich tamtych? Była nim sama Albertyna.

Patrzyłem na nią. Dziwne mi było myśleć, że to ona, ona, którą tak długo uważałem za niemożliwą do poznania, która dziś, obłąkane dzikie zwierzę, krzak róż, któremu dałem podpórę, ramę, szpaler jej życia, siedzi tak co dnia u siebie, blisko mnie, koło pianoli, plecami niemal wsparta o szafę z książkami. Ramiona jej, niegdyś pochylone i chytne, kiedy odnosiła kije golfowe, opierały się o moje książki. Jej piękne nogi,

<sup>1399</sup> *Orvieto* — miasto we Włoszech, w regionie Umbria, w połowie drogi między Florencją a Rzymem; znane m.in. z XIV-wiecznej katedry, której fasada jest jednym z największych arcydzieł późnego średniowiecza: zdobiją ją płaskorzeźby przedstawiające historie biblijne ze Starego i Nowego Testamentu, m.in. ilustrujące opowieść o biblijnym ogrodzie Eden. [przypis edytorski]

<sup>1400</sup> *Pola Elizejskie* — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

<sup>1401</sup> *Rameau, Jean-Philippe* (1683–1768) — francuski kompozytor i teoretyk muzyki okresu baroku, autor oper, baletów i utworów klawesynowych; najwybitniejszy muzyk francuski XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>1402</sup> *Borodin, Aleksandr Porfirjewicz* (1833–1887) — rosyjski kompozytor romantyczny i chemik; autor symfonii, kwartetów smyczkowych, poematu symfonicznego *W stepach Azji Środkowej* i opery *Kniaź Igor*. [przypis edytorski]



o których pierwszego dnia myślałem trafnie, że przez całą jej młodość poruszały pedały roweru, teraz podnosiły się i opadały kolejno na pedałach pianoli, na których Albertyna — nabrawszy elegancji, która mi ją czyniła bardziej moją, ponieważ zawdzięczała ją mnie — stawiała trzewiczki ze złotej lamy<sup>1403</sup>. Palce jej, niegdyś nawykłe do kierownicy, kładły się teraz na klawiszach jak palce świętej Cecylii<sup>1404</sup>. Jej szyja, której krąg widziany z łóżka był pełny i tęgi, na tę odległość i pod światłem lampy zdawała się różowsza, mniej różowa jednak niż nachylona profilem twarz, której spojrzenia moje, wychodząc z samych głębin mnie, nabrzmiałe wspomnieniami i żądzą, przydawały tyle blasku, takie nasilenie życia, że jej zarys zdawał się unosić i wirować z taką samą magiczną niemal siłą, co owego dnia w hotelu w Balbec, kiedy mój wzrok mącił się od nadmiernej żądz ucałowania jej; przedłużałem każdą płaszczynę poza to, com mógł z niej widzieć, i pod tym, co mi ją skrywało, a co mi dawało lepiej jeszcze czuć plany tych płaszczyn — powieki, na wpół zamykające jej oczy, włosy, skrywające część policzków. Oczy jej błyszcząły, jak w rudzie, w której tkwi jeszcze opal, błyszczą jedyne dwie gładkie płytki, bardziej lśniące od metalu, będące pośród ślepej materii niby skrzydła motyla włożonego za szkło, skrzydła z jedwabiu lila. Jej czarne kędzierzawe włosy, układające się rozmaicie, w miarę jak się odwracała, aby spytać, co ma grać — to jakieś wspaniałe skrzydło z ostrym szpicem, szerokie u podstawy, czarne, pierzaste i trójkątne, to płotące rzeźbę swoich pukłów w gruby i nierówny łańcuch, pełen wzgórz, bruzd, przepaści — w swoim bogatym i kapryśnym zwichrzeniu zdawały się przewyższać rozmaitość natury i odpowiadać raczej marzeniu rzeźbiarza, który piętrzy trudności, aby uwydatnić gibkość, rozmach, miękkość, życie wykonania. Włosy te tym bardziej podkreślały ożywiony zarys i jakby obrotowy ruch gładkiej i różowej twarzy, lśniącej i matowej jak malowane drzewo. I przez kontrast z tym nadmiarem plastyki, a także przez harmonię łączącą z nią te meble, dostrajającą jej pozę do ich kształtu i celu, pianola na wpół zasłaniająca Albertynę niby organy, szafy biblioteczne i cały ten kąt pokoju, zdawały się już tylko oświetlonym sanktuarium, żłobkiem tego anioła muzyki, dzieła sztuki, które za chwilę mocą słodkiej magii miało się wyrwać z niszy i wydać moim pocałunkom swoją szacowną i różową substancję.

Ale nie, Albertyna nie była wcale dla mnie dziełem sztuki. Wiedziałem, co to jest podziwiać kobietę artystycznie, znałem Swanna. Sam z siebie zresztą — bez względu na to, o jaką kobietę chodziło — byłem do tego niezdolny, nie posiadając w żadnej mierze zmysłu zewnętrznej obserwacji, nie wiedząc nigdy, czym jest to, co widziałem. Z zachwytem patrzyłem, kiedy niegdyś Swan wznosił dla mnie do godności artystycznej kobietę, która mnie się zdawała nijaka, porównując ją, jak lubił dwornie czynić przy niej samej, do jakiegoś portretu Luiniego<sup>1405</sup>, odnajdując w jej toalecie suknię lub klejnoty z obrazu Giorgione<sup>1406</sup>. Nic podobnego u mnie. Rozkosz i przykreść czerpane z Albertyny nie siliły się dosięgnąć mnie okrężną drogą smaku i inteligencji. A nawet, aby rzec prawdę, kiedym zaczynał patrzeć na Albertynę jak na cudownie patynowanego anioła muzyki, z którego posiadania byłem dumny, niebawem stawała mi się obojętna, rychło nudziłem się przy niej. Ale te chwile trwały krótko; kochamy tylko to, w czym ścigamy coś niedostępnego; kochamy jedynie to, czego nie posiadamy, a ja wnet zaczynałem sobie znów zdawać sprawę, że nie posiadam Albertyny. Widziałem migoczącą w jej oczach to nadzieję, to wspomnienie, może żal, rozkosze, których nie zgadywałem, których w tym wypadku Albertyna wołała się raczej wyrzec niż mi je wyznać. Chwytając jedynie pewne ich błyski w źrenicach Albertyny, spostrzegałem nie więcej niż widz, którego nie wpuszczono do sali i który rozplaszczając twarz o szybkę w drzwiach, nie może dojrzeć nic z tego, co się dzieje na scenie. Nie wiem, czy tak było u Albertyny, ale to jest szczególna rzecz, ta wytrwałość w kłamstwie, jaką mają wszyscy, co nas oszukują — tak jak oznaki wiary w dobro u największych niedowiarków. Próżno byśmy powtarzali, że ich kłamstwo sprawia więcej przykrości niż wyznanie; próżno by sobie zdawali z tego spr-

<sup>1403</sup> *lama* — tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis edytorski]

<sup>1404</sup> *Cecylia* — święta Kościoła katolickiego i prawosławnego, żyjąca w III w. w Rzymie; patronka muzyków. [przypis edytorski]

<sup>1405</sup> *Luini, Bernardino* (1490–1532) — włoski malarz renesansowy, tworzący pod wpływem twórczości Leonarda da Vinci. [przypis edytorski]

<sup>1406</sup> *Giorgione*, właśc. *Zorzi di Castelfranco* (1478–1510) — włoski malarz renesansowy; artysta owiany tajemnicą; niewiele wiadomo o jego życiu i twórczości, zmarł przedwcześnie, podczas zarazy, żaden z jego obrazów nie jest sygnowany ani datowany, autorstwo wielu z nich jest sporne. [przypis edytorski]

wę, i tak skłamałoby znów za chwilę, aby być w zgodzie z tym, czym rzekomo jesteśmy dla nich. Podobnie ateusz, choćby przywiązany do życia, da się zabić, aby nie zniweczyć pojęcia świata o jego odwadze.

W ciągu tych godzin widziałem czasami bujające nad Albertyną — w jej spojrzeniach, w jej mince, w jej uśmiechu — odbicie owych wewnętrznych widowisk, których kontemplacja czyniła ją w owe wieczory jakby odmienną, odległą ode mnie niemającego do nich prawa. „O czym myślisz, kochanie?” — „Ależ o niczym”. Czasami, aby odpowiedzieć na mój wyrzut, że mi nic nie mówi, to mówiła rzeczy, o których wiedziała, że je znam równie dobrze jak wszyscy (niby ci wielcy politycy, którzy by wam nie zwierzyli najdrobniejszej nowiny, ale którzy w zamian podają wam wiadomość figurującą we wczorajszych dziennikach), to znów opowiadała mglisto, w tonie fałszywych zwierzeń, swoje spacerunki na rowerze w Balbec na rok przed naszym poznaniem się. I jak gdybym trafnie odgadł niegdyś, wnosząc, że ona musiała być dziewczyną bardzo swobodną, robiącą bardzo długie wycieczki, wspomnienie tych wycieczek kładło na wargi Albertyny ten sam tajemniczy uśmiech, który mnie urzekł w pierwsze dni na promenadzie w Balbec.

Mówiła mi także o spacerach za miasto z przyjaciółkami gdzieś w Holandii, o powrotach wieczorem do Amsterdamu, późną godziną, kiedy zbity i radosny tłum ludzi, przeważnie jej znanych, napelniał ulice, wybrzeża kanałów, których niezliczone migotliwe ognie odbijały się dla mnie w błyszczących oczach Albertyny, niby w mglistych szymbach ręczego pojazdu. Nasza rzekoma ciekawość estetyczna zasługiwałaby raczej na nazwę obojętności wobec bolesnej, niestrudzonej dręczącej mnie ciekawości miejsc, w których Albertyna żyła, tego, co mogła robić jakiegos wieczora, jej uśmiechów, spojrzeń, słów, pocałunków. Nie, nigdy moja zazdrość pewnego dnia o Roberta, nawet gdyby trwała, nie dałaby mi tego olbrzymiego niepokoju. Ta miłość między kobietami była czymś zbyt nieznanym, czego rozkoszy i istoty niepodobna było sobie ściśle i pewnie wyobrazić. Ileż ludzi, ileż miejscowości (nawet niezwiązanych z nią wprost, nieokreślonych miejsc rozkoszy, gdzie mogła ich kosztować), ileż środowisk (gdzie jest dużo ludzi, gdzie ludzie ocierają się o siebie) Albertyna wprowadziła do mego serca z progu mojej wyobraźni lub pamięci, gdzie nie troszczyłem się o nie; niby osoba, która wprowadza z sobą do teatru swoją świętę, całe swoje towarzystwo. Obecnie znałem to wszystko wewnętrznym, bezpośrednim, spazmatycznym, bolesnym poznaniem. Miłość to przestrzeń i czas odczute sercem.

Miłość, Czas, Przestrzeń,  
Serce

Może wreszcie, gdybym sam był całkiem wierny, nie cierpiałbym na myśl o jej niewiernościach, nie będąc zdolny ich sobie wyobrazić; ale dręczyłem się, wyobrażając sobie u Albertyny własną ciągłą żądzę podobań się nowym kobietom, pragnienia nowych miłostek; odgadywałem w niej to samo spojrzenie, jakim kiedyś, nawet przy niej, mimo woli obrzucałem młode cyklistki, siedzące przy stolikach w Lasku Bulońskim. Jak poznanie, zazdrość istnieje tylko przez nas samych. Obserwacja mało tu znaczy. Jedynie z przyjemności odczutej przez siebie samych możemy czerpać wiedzę i cierpienie.

Chwilami w oczach Albertyny, w nagłym jej rumieńcu odczułem niby gorący błysk przechodzący ukradkiem w regiony niedostępniejsze dla mnie od samego nieba; w regiony, gdzie poruszały się nieznanne mi wspomnienia Albertyny. Wówczas owa piękność, jaką myśląc o kolejnych latach, kiedy znałem Albertynę czy to na plaży w Balbec, czy w Paryżu, znajdowałem w niej od niedawna, nabierała dla mnie czegoś rozdzierającego. Owa jej piękność polegała na tym, że Albertyna rozwijała się na tyłu płaszczyznach i zawierała dla mnie tyle ubiegłych dni. Wówczas czułem, że pod tą różowującą twarzą otwiera się otchłań niewyczerpanej przestrzeni wieczorów, w których nie znałem Albertyny. Mogłem niewątpliwie wziąć ją na kolana, trzymać jej głowę w dłoniach; mogłem ją pieścić, wodzić po niej rękami, ale czułem, że dotykam jedynie zamkniętej powłoki istoty, która wnętrzem swoim należy do nieskończoności, tak jakbym ujmował kamień zawierający słoność niepamiętnych oceanów lub promień gwiazdy. Jakże cierpiałem od tej sytuacji, zrodzonej z zapomnienia natury, która rozdziałając ciała, nie pomyślała o tym, aby umożliwić przenikanie dusz. O ile ciało Albertyny było we władzy mojego, myśl jej wymykała się dotknięciu mojej myśli. I zdawałem sobie sprawę, że Albertyna nie jest nawet dla mnie cudowną branką, którą chciałem wzbogacić mieszkanie, kryjąc w nim jej obecność (nawet przed tymi, którzy mnie odwiedzali i którzy nie podejrzewali jej na końcu korytarza, w sąsiednim pokoju) równie doskonale jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy

trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską<sup>1407</sup>. Skłaniając mnie w naglącej, okrutnej i pozbawionej wyjścia formie do zgłębiania przeszłości, Albertyna była raczej wielką boginią Czasu. A jeżeli trzeba było, abym stracił dla niej lata, majątek, nie mam czego żałować, bylebym sobie mógł powiedzieć (co, niestety, nie jest pewne!), że ona na tym nie straciła. Bez wątpienia, samotność byłaby więcej warta — płodniejsza, mniej bolesna. Ale gdybym prowadził życie kolekcjonera, które mi doradzał Swann (i pan de Charlus wyrzucał mi, że nie znam tych rozkoszy, kiedy barwiąc swoje słowa żartem, impertynencją i dobrym smakiem, powiadał: „Jak u pana brzydko!”), jakież posągi, jakie obrazy, długo ścigane, wreszcie posiadane lub nawet — przyjmując najlepszą ewentualność — oglądane bezinteresownie, byłyby mi — niby mała ranka, która się zbliżniała dość szybko, ale którą bezwiedna niezręczność Albertyny, obojętnych osób lub moich własnych myśli otwierała niebawem — pozwoliły wyjść poza siebie tą drogą prywatną, ale wiodącą na gościniec, kędy przechodzi to, co znamy dopiero od dnia, w którym cierpieliśmy przez nie — życie drugich?

Czasem księżyc świecił tak pięknie, że w godzinę po rozstaniu się z Albertyną szedłem namówić ją, żeby popatrzyła w okno. Jestem pewien, że po to szedł do jej pokoju, a nie aby się upewnić, że tam jest. Cóż za pomysł, żeby ona mogła i chciała uciec! Trzeba by nieprawdopodobnej zmywy z Franciszką. W ciemnym pokoju widziałem na białej poduszce tylko wąski diadem czarnych włosów. Ale słyszałem oddech Albertyny. Spała tak głęboko, że wzdrgałem się czasem podejść do łóżka. Potem siadałem na krawędzi. Sen płynął dalej z tym samym szmerem. Ale niepodobna opisać, jaka była wesoła po przebudzeniu. Ścisnąłem ją, potrząsałem nią. Natychmiast przestawała spać, ale tuż potem wybuchala śmiechem, oplatając mi ramiona dokoła szyi i mówiąc: „Właśnie myślałam, czy przyjdiesz” — i śmiała się czule w najlepsze. Można by rzec, że w czasie gdy spała, uroczą jej główka była pełna samej wesołości, samej czułości i śmiechu. I budząc ją tak, wyciskałem jedynie, niby z otwartego owocu, sok, który tryska i gasi pragnienie.

Tymczasem kończyła się zima; wróciły piękne dni; często kiedy Albertyna ledwie dopiero co powiedziała mi dobranoc, a pokój, firanki, ściana nad firankami były jeszcze czarne, w ogrodzie sąsiedniego klasztoru słyszałem bogaty i cenny w tej ciszy, niby organy kościelne, tryl nieznanego ptaka, który w lidyjskiej<sup>1408</sup> tonacji śpiewał już jutrznię i wnosił w moje mroki sutą i lśniącą nutę słońca, które ów ptak oglądał. Raz nawet usłyszeliśmy nagle regularną kadencję żalosego wołania. To gołębie zaczynały gruchać. „To znaczy, że już dzień” — rzekła Albertyna; i ze zmarszczonymi niemal brwiami, tak jakby mieszkając u mnie, była pozbawiona rozkoszy pięknych dni, dodała: „Już widać wiosna, skoro gołębie wróciły”. Podobieństwo między ich gruchaniem a pianiem koguta było tak głębokie i tajemnicze, jak w septecie Vinteuila podobieństwo między tematem adagia a ostatnią częścią zbudowaną na tym samym zasadniczym temacie, ale tak przeobrażonym przez różnicę tonacji, iż nieświadoma publiczność, kiedy otworzy jakieś dzieło o Vinteuila, dziwi się, że wszystkie trzy części zbudowane są na tych samych czterech nutach — czterech nutach, które można zresztą wygrać na fortepianie jednym palcem, nie odnajdując żadnego z trzech ustępów. Podobnie ten melancholijny kawałek wykonany przez gołębie był rodzajem piania koguta w *mol*, które nie wznosiło się ku niebu, nie wstępowało pionowo, ale regularne jak ryk osła, spowite słodyczą, szło od jednego gołębia do drugiego po tej samej poziomej linii i nigdy się nie przeżyło, nie zmieniało swojej postronnej skargi w ów radosny apel, który wydały tyle razy allegro z introdukcji i finału.

Niebawem noce stały się jeszcze krótsze; przed dawnymi godzinami poranka widziałem już nad portierą przybywającą co dzień białość dnia. Jeżeli się godziłem jeszcze z tym, aby skazywać Albertynę na życie, w którym mimo jej zaprzeczeń — czułem to — miała wrażenie, że jest w więzieniu, to jedynie dlatego, że każdego dnia byłem pewny, iż nazajutrz potrafię zabrać się do pracy, zacząć wstawać, wychodzić, wybierać się do jakiejś posiadłości, którą byśmy kupili i gdzie by Albertyna mogła swobodnie i bez mego

<sup>1407</sup> jak ów człowiek, który bez niczyjej wiedzy trzymał zamkniętą w butelce księżniczkę chińską — nawiązanie do opowiadki o człowieku, który wierzył, że w butelce trzyma zamkniętą chińską księżniczkę, póki przypadkiem butelka się nie stłukła. [przypis edytorski]

<sup>1408</sup> lidyjska skala (muz.) — jedna z trzech bazowych siedmiostopniowych skal muzycznych używanych w starożytnej Grecji; jej nazwa pochodzi od Lidii, krainy w Azji Mniejszej; zbudowana w kierunku opadającym, zaczynająca się od dźwięku C. [przypis edytorski]

niepokoję wieść życie wiejskie lub nadmorskie, pływać, polować — żyć jak by się jej podobało. Tylko że nazajutrz zdarzało się, iż jedna z godzin składających ową przeszłość, którą na przemian kochałem i nienawidziłem w Albertynie (ile że kiedy jest terazniejszością, każdy, z interesu, przez grzeczność lub przez litość, stara się uprząć między nią a nami tkaninę kłamstw, branych przez nas za rzeczywistość), a nawet tych godzin, które w swoim przeświadczeniu znałem, ukazywała mi nagle kształt, którego nie próbowano mi już przesłonić, kształt wówczas całkiem różny od tego, w jakim mi się niegdyś objawiła. Poza jakimś spojrzeniem, w miejsce poczciwej myśli czytanej w nim niegdyś, odsłaniało się niepodejrzewane dotąd pragnienie, odbierające mi nową cząstkę tego serca Albertyny, które uważałem za zrośnięte ze swoim. Na przykład kiedy Anna opuściła wówczas w lipcu Balbec, Albertyna nie mówiła mi nigdy, że ma ją rychło zobaczyć; sądziłem nawet, że ją ujrzała wcześniej, niż się spodziewała, skoro z racji wielkiego smutku, który mnie nawiedził w Balbec owej nocy 14 września, zgodziła się przez poświęcenie dla mnie nie siedzieć dłużej i wrócić zaraz do Paryża. Kiedy przybyła piętnastego, prosiłem ją, żeby odwiedziła Annę i rzekłem: „Czy rada była z twojego widoku?”. Otóż, pewnego dnia przyszła pani Bontemps, żeby coś przynieść Albertynie; widziałem się z nią chwilę i powiedziałem, że Albertyna wyszła z Anną:

— Pojechały trochę na wieś.

— Tak — odrzekła pani Bontemps — Albertyna nie jest wybredna na punkcie wsi. Na przykład przed trzema laty uparła się co dzień jeździć do Buttes-Chaumont.

Na tę nazwę „Buttes-Chaumont” (gdzie Albertyna, wedle jej własnych słów, nigdy nie była) oddech zamarł mi na chwilę. Rzeczywistość jest najrzęczniejszym z wrogów. Kieruje ataki na te punkty naszego serca, gdzieśmy się ich nie spodziewali i gdzie nie przygotowaliśmy obrony. Czy Albertyna kłamała wówczas, mówiąc ciotce, że co dzień bywa w Buttes-Chaumont, czy później mnie, kiedy mówiła, że nie zna tego miejsca?

— Szczęście — dodała pani Bontemps — że ta biedna Anna jedzie niebawem na wieś bardziej ożywczą, na prawdziwą wieś; bardzo tego potrzebuje, tak źle wygląda. Prawda, że tego lata nie miała tyle powietrza, ile jej potrzeba. Niech pan pomyśli, opuściła Balbec z końcem lipca, myśląc, że wróci we wrześniu; i ot, brat jej zwichnął nogę i nie mogła wrócić.

Więc Albertyna oczekiwała Anny w Balbec i zataiła mi to! Prawda, że w tych okolicznościach tym miłsze było, że mi zaproponowała powrót. Chyba że...

— Tak, przypominam sobie, Albertyna wspominała mi o tym. — To nie była prawda. — Kiedyż się zdarzył ten wypadek? Wszystko to poplątało mi się trochę w głowie.

— Ależ... o ile wiem, zdarzył się w samą porę, bo nazajutrz przypadał termin najmu i babka Anny musiałyby zbytecznie opłacać nowy miesiąc za willę. Złamał nogę 14 września, Anna miała czas zatelegrafować do Albertyny piętnastego rano, że nie przyjedzie, a Albertyna dać znać do biura. Jeden dzień później, a kontrakt przedłużyłby się automatycznie do 15 października.

Tak więc z pewnością, kiedy Albertyna, zmieniając zamiar, rzekła: „Jedźmy dziś wieczór”, widziała w myśli mieszkanie, mieszkanie babki Anny, gdzie od naszego powrotu mogła widywać przyjaciółkę, z którą (bez mojej wiedzy) miała się spotkać niedługo w Balbec. Tę tak poczciwą zgodę na powrót ze mną, tak sprzeczną z jej poprzednią upartą odmową, starałem się przypisać jej dobremu sercu. Była po prostu odbiciem zmiany zaszłej w sytuacji nieznaney nam, stanowiącej cały sekret wahań w postępowaniu kobiety, która nas nie kocha. Odmawia nam uparcie schadzki na jutro, bo jest zmęczona, bo musi być u dziadka na obiedzie.

— Przyjdź choć później — nalegamy.

— Dziadek przetrzymuje mnie zawsze bardzo długo. Może mnie zechce odprowadzić.

Po prostu ma schadzki z kimś, na kogo leci. Nagle ten ktoś nie jest wolny, ona zaś przychodzi wyrazić swój żal, że nam sprawiła przykrość i że puści kantem dziadka i zostanie najchętniej z nami. Powiniennem był poznać te zwroty w ówczesnych słowach Albertyny, w dniu wyjazdu z Balbec; ale aby zinterpretować te słowa, musiałbym pamiętać wówczas o dwóch swoistych rysach jej charakteru, które mi wracały teraz na myśl, jeden na moją pociechę, drugi ku mojej rozpacz. Znajdujemy wszystko w naszej pamięci; jest to rodzaj apteki, chemiczne laboratorium, gdzie popada nam przypadkiem w rękę to kojące lekarstwo, to groźna trucizna. Pierwszym rysem, pocieszającym, był zwyczaj

Albertyny, żeby jeden postępek zużyć dla zadowolenia wielu osób, znamienne dla niej wielorakie wyzyskanie tego, co robiła. Fakt, że Anna nie wracała, mógł Albertynę zniechęcić do pozostania w Balbec, co nie znaczy, że nie mogła się obejść bez Anny. I to było bardzo w jej stylu, aby za powrotem do Paryża znaleźć w tej jednej podróży sposobność do ujęcia sobie dwóch osób, które kochała szczerze; mnie, każąc mi wierzyć, że wraca dlatego, żeby mnie nie zostawiać samego, żebym nie cierpiał, przez poświęcenie dla mnie; Annę, przekonywując ją, że z chwilą kiedy Anna nie przyjeżdża do Balbec, ona nie chce zostać tam ani chwili dłużej; że przedłużyła pobyt jedynie po to, aby ją widzieć, i spieszy do niej w tejsze chwili. Otóż wyjazd Albertyny ze mną następował w istocie tak bezpośrednio, z jednej strony po moim zmartwieniu i po mojej chęci wrócenia do Paryża, z drugiej strony po depeszy Anny, że było całkiem naturalne, iż oboje z Anną — nie znając nawzajem, Anna mojego zmartwienia, a ja jej depeszy — mogliśmy przypuszczać, że wyjazd Albertyny był skutkiem jedynej, każdemu z nas wiadomej przyczyny, po której wyjazd ów nastąpił w istocie tak szybko i nieoczekiwanie. I w tym wypadku mogłem jeszcze sądzić, że chęć towarzyszenia mi była istotną pobudką Albertyny, która jednakże nie chciała zaniedbać sposobności do zaskarżenia sobie z tego tytułu wdzięczności Anny. Ale na nieszczęście przypomniałem sobie prawie równocześnie inny rys Albertyny, a mianowicie żywość, z jaką ulegała nieodpartej pokusie przyjemności. Otóż przypomniałem sobie, kiedy się zdecydowała jechać, jak niecierpliwie czekała chwili odjazdu, jak potrąciła dyrektora hotelu, który starając się nas zatrzymać, omal nie przyprowadził nas o spóźnienie się; przypomniałem sobie jej porozumiewawcze wzruszenie ramion (które mnie tak rozczuliło), kiedy w kolejce pan de Cambremer spytał, czy nie moglibyśmy odłożyć wyjazdu o tydzień. Tak, tym, co Albertyna widziała w owej chwili, co udzielało jej gorączki wyjazdu, co jej było tak pilno odnaleźć, był niezamieszkały apartament (który widziałem raz), apartament babki Anny zostawiony pod opieką starego lokaja; mieszkanie zbytkowne, położone od południa, ale tak puste i ciche, że słońce jak gdyby nakładało pokrowce na kapy, na fotele w pokoju, gdzie Albertyna i Anna poproszą pełnego uszanowania, może naiwnego, może świadomego odźwiernego, żeby im pozwolił odpocząć. Widziałem teraz przez cały czas ten pusty pokój z łóżkiem lub kanapą, gdzie Albertyna za każdym razem, kiedy miała spiesząc się i poważną minkę, biegła spotkać się ze swoją przyjaciółką, z pewnością przybyłą wcześniej, bo była swobodniejsza. Nigdy dotąd nie myślałem o tym mieszkaniu, które teraz nabierało dla mnie okropnej piękności. Tajemnica istot ludzkich jest jak tajemnica natury, którą każde naukowe odkrycie jedynie odsuwa, ale nie usuwa: zazdrośnik przywodzi do rozpaczki kobietę, którą kocha, pozbawiając ją tysiąca błahych przyjemności; ale przyjemności będące istotą jej życia kobieta chowa tam, gdzie nie przychodzi mu na myśl ich szukać, nawet w chwilach, gdy jego inteligencja najwięcej w jego własnym przeświadczeniu okazuje bystrości i kiedy osoby postronne najlepiej go informują.

Prawda, Anna miała wyjechać. Ale nie chciałem, żeby Albertyna mogła mną gardzić, jak kimś, kto się dał oszukać jej i Annie. Dziś czy jutro powiem jej to. W ten sposób zmusiłbym ją może do mówienia ze mną szczerzej, pokazałbym, że i tak jestem poinformowany o tym, co mi skrywała. Ale nie chciałem jej mówić o tym jeszcze; najpierw dlatego, że tak rychło po wizycie ciotki odgadłaby źródło moich informacji i zatamowała by je. Następnie dlatego, że przed uzyskaniem absolutnej pewności, iż zatrzymam Albertynę tak długo, jak długo zechcę, wołałem zbytnio nie ryzykować jej gniewu, który mógłby wzbudzić w niej chęć opuszczenia mnie. Prawda, że kiedy rozumowałem, szukałem prawdy, wróżyłem o przyszłości wedle słów Albertyny, które przytwierdzały zawsze wszystkie moje projekty, głosząc, jak bardzo ona lubi to życie, jak mało ceni to, czego jej to zamknięcie pozbawia, wówczas nie wątpiłem, iż ona zawsze pozostanie ze mną. Drażniło mnie to nawet bardzo, miałem uczucie, że mi się wymyka życie, wszechświat, których nigdy nie zakosztowałem, wymienione na kobietę niezdolną mi już dać nic nowego. Nie mogłem nawet wybrać się do Wenecji, gdzie podczas gdy leżałbym w łóżku, zbyt dręczyłaby mnie obawa zalotów, jakich Albertyna stała by się przedmiotem ze strony gondolierów, mieszkańców hotelu, weneccjanek. Ale kiedy znowuż rozumowałem w myśl drugiej hipotezy, wspierającej się nie na słowach Albertyny, lecz na milczeniach, spojrzeniach, rumieńcach, dąsach, a nawet gniewach, których bezzasadność łatwo byłoby mi jej wykazać, ale których wołałem nie dostrzegać, wówczas powiadałem sobie, że życie Alber-

tyny jest dla niej czymś nie do zniesienia, że przez cały czas pozbawiona jest tego, co lubi, i że nieodzwrotnie któregoś dnia mnie rzuci. Pragnąłem tylko — o ile by to zrobiła — abym mógł wybrać chwilę, kiedy mi to nie będzie zbyt bolesne, a także porę roku, kiedy Albertyna nie mogłaby pospieszyć do żadnej z miejscowości, gdzie sobie wyobrażałem jej rozkosze, ani do Amsterdamu, ani do Anny (którą odnalazłaby co prawda w kilka miesięcy później). Ale do tej pory uspokoiłbym się, stałoby mi się to obojętne. W każdym razie na to, aby o tym myśleć, trzeba by czekać uleczenia małej recydywy spowodowanej odkryciem przyczyn, dla których Albertyna, na przestrzeni kilku godzin, nie chciała opuścić, a potem natychmiast opuściła Balbec. Trzeba było przeczekać objawy, które musiałyby z konieczności słabnąć, o ile bym się nie dowiedział czegoś nowego, ale były jeszcze zbyt ostre, aby nie uczynić bolesniejszą i trudniejszą operacji zerwania. Operację tę uważałem obecnie za nieuniknioną, ale bynajmniej nie pilną; lepiej było dokonać jej „na zimno”. Wybór chwili zależał ode mnie, bo o ile by Albertyna chciała odejść przed moją decyzją, wówczas, gdyby mi oznajmiła, że ma dość tego życia, zawsze byłby czas na to, aby próbować zwalczyć jej racje, zostawić jej więcej swobody, przyrzec jakąś bliską przyjemność, na którą chciałyby sama zaczekać, a nawet — gdybym nie znalazł odsieczy gdzie indziej niż w jej sercu — wyznać jej swoją zgryzotę. Byłem tedy bardzo spokojny z tego punktu widzenia, nie będąc w tym zresztą zbyt logiczny. Bo w hipotezach, w których nie liczyłem się właśnie z rzeczami, które Albertyna mówiła i zapowiadała, przypuszczałem, że zamierzając odejść, podałyby mi z góry swoje racje, dałyby mi możliwość zwalczania i zwyciężenia ich. Czulem, że życie z Albertyną było dla mnie, o ile nie byłem zazdrosny, samą nudą, a znowuż kiedyś był zazdrosny, samym cierpieniem. Jeżeli było w nim coś szczęścia, nie mogło ono trwać. Byłem w tym samym rozsądnym nastroju co w Balbec, kiedy, owego szczęśliwego wieczora po wizycie pani de Cambremer, chciałem opuścić Albertynę, bo wiedziałem, że nic nie zyskałem na zwłocę. Tylko teraz jeszcze wyobrażałem sobie, iż wspomnienie po niej byłoby rodzajem przedłużonej pedalej wibracji ostatniej minuty naszego rozstania. Toteż pragnąłem wybrać jakąś słodką chwilę, aby ta chwila dalej drgała we mnie. Nie trzeba było być zbyt wybrednym, czekać zbyt długo, należało być rozsądnym. Mimo to, wyczekawszy tyle, szaleństwem byłoby nie odczekać jeszcze kilku dni, aż się zjawi taka pożądana minuta, raczej niż ryzykować, że przyjmę odejście Albertyny z tym samym buntem, jaki mną wstrząsał niegdyś, kiedy mama odchodziła od mego łóżka, nie powiedziawszy mi dobranoc, lub kiedy mnie żegnała na dworcu. Na wszelki wypadek mnożyłem swoje galanterie. Co do sukien Fortuny’ego, zdecydowaliśmy się wreszcie na niebiesko-złotą z różową podszewką — właśnie ją ukończono. Zamówiłem mimo to pięć innych, których Albertyna, wybierając tę jedną, wyrzekła się z żalem. Jednakże z nadejściem wiosny, w dwa miesiące po tym, co mi mówiła jej ciotka, uniosłem się pewnego wieczora. Było to właśnie w ów wieczór, kiedy Albertyna pierwszy raz włożyła błękitno-złoty szlafroczek Fortuny’ego, który wskrzeszając obraz Wenecji, bardziej jeszcze dał mi uczuć, com poświęcił dla niej, i to bez żadnej wdzięczności z jej strony. Choć nigdy nie widziałem Wenecji, marzyłem o niej bez przerwy od czasu owych świąt wielkanocnych, które dzieckiem<sup>1409</sup> miałem tam spędzić, i dawniej jeszcze, od sztychów Tycjana i fotografii Giotta<sup>1410</sup>, które niegdyś Swann dał mi w Combray. Suknia Fortuny’ego, którą miała tego wieczora Albertyna, zdawała mi się niby kuszący cień owej niedosiężnej Wenecji. Pokrywały ją arabeski, ornamenty, podobne do tych, które zdobią pałace Wenecji, ukryte niby sultanki za ażurową zasłoną z kamienia, niby oprawy z Biblioteki Ambrożyńskiej<sup>1411</sup>, niby kolumny, gdzie wschodnie ptaki, oznaczające na przemian śmierć i życie, powtarzały się w migotaniu materii o ciemnobłękitnym kolorze, który w miarę jak weń wnikałem wzrokiem, zmieniał się w gibkie złoto, siłą tego przeobrażenia, jakie przed posuwającymi się gondolami zmieniają lazur Canal Grande w płomienny metal. A rękawy były podszyte materia wśniowego koloru, który jest tak osobliwie wenecki i który zowie się czerwienią Tiepolo.

<sup>1409</sup> dzieckiem (daw.) — tu: dzieckiem będąc, w dzieciństwie. [przypis edytorski]

<sup>1410</sup> Giotto di Bondone (1266–1337) — włoski malarz i architekt; odszedł od stylu wschodniego, bizantyjskiego, czym przyczynił się do rozwoju nowożytnego malarstwa we Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>1411</sup> Biblioteka Ambrożyńska (wl. *Biblioteca Ambrosiana*) — biblioteka w Mediolanie, we Włoszech, zawierająca wiele wartościowych dzieł literackich kultury światowej, zał. w 1609; w 1618 do biblioteki dołączono zbiory obrazów i rzeźb, które utworzyły galerię sztuki znaną jako Pinakoteka Ambrożyńska. [przypis edytorski]

W ciągu dnia Franciszka mruknęła przy mnie, że Albertyna nie jest z niczego zadowolona; kiedy jej kazałem powiedzieć, że wyjdę z nią albo że nie wyjdę, że auto zajędzie po nią lub nie zajędzie, niemal wzruszała ramionami i odpowiadała prawie niegrzecznie. Owego wieczora, kiedy czułem, że Albertyna jest w złym humorze, kiedy sam byłem zdenerwowany upałem, nie mogłem powstrzymać gniewu i wymówiłem jej niewdzięczność.

— Tak, możesz spytać, kogo chcesz — krzychałem ze wszystkich sił, nieprzytomny — możesz spytać Franciszki, wszyscy to powtarzają!

Ale natychmiast przypomniałem sobie, że Albertyna powiedziała mi raz, jaki się robię straszny, kiedy się gniewam, i zastosowała do mnie te wiersze Estery:

Osądź, jak bardzo gniew ten i to czoło groźne  
W duszę mą wnieść musiało lęku tchnienie mroźne;  
Ach, z tego lęku serce omal nie wyskoczy,  
Od błyskawic, jakimi strzelają te oczy...

Zawstydziłem się swojej gwałtowności. I aby to odrobić, ale tak, aby nie wyglądało na klęskę, aby mój pokój był pokojem groźnym i zbrojnym, a równocześnie czując, iż byłoby dobrze pokazać znów, że nie bałbym się zerwania (dlatego aby ona nie pomyślała o nim), rzekłem:

— Przepraszam cię, Albertynko, wstyd mi mojej porywczowości, jestem w rozpacz. Jeżeli nie możemy się już porozumieć, jeżeli mamy się rozstać, nie róbmyż tego w ten sposób, to by nie było godne nas. Rozstaniemy się, jeżeli trzeba, ale przede wszystkim pragnę cię bardzo pokornie i z całego serca prosić o przebaczenie.

Pomyślałem, że aby to naprawić i upewnić się co do jej zamiarów pozostania u mnie na najbliższy czas (przynajmniej do tej pory, kiedy Anna wyjedzie, co miało nastąpić za trzy tygodnie), byłoby dobrze obmyślić od jutra jakąś przyjemność większą od tych, które Albertyna miała dotąd, i obmyślić na dosyć długą metę; a skoro chciałem zatrzeć przykrość, jaką jej sprawiłem, dobrze byłoby skorzystać z chwili, aby okazać, że znam jej życie lepiej, niż przypuszcza. Zły humor, w jaki by to ją wprawiło, zatarłbym jutro jakimiś nowymi dowodami uczuć, ale przestroga została jej w pamięci.

— Tak, Albertyno, przebacz mi, jeśli byłem zbyt gwałtowny. Nie jestem znowuż tak bardzo winien, jak przypuszczasz. Są źli ludzie, którzy starają się nas poróżnić; nigdy nie chciałem mówić o tym, aby cię nie dręczył. Ale czasami pewne denuncjacje<sup>1412</sup> przywodzą mnie do szaleństwa. I tak — rzekłem — teraz mnie wciąż dręczą, prześladują mnie opowiadaniem o twoich stosunkach, ale z Anną.

— Z Anną? — wykrzyknęła z irytacją, która oblała jej twarz rumieńcem. I zdumienie lub chęć okazania zdumienia rozszerzyły jej oczy. — To śliczne! Czy można wiedzieć, kto ci opowiedział te piękne rzeczy? Czy mogłabym pomówić z tymi osobami, usłyszeć, na czym opierają swoje bezecności?

— Albertynko, ja nie wiem, to są anonimy, od osób, które zresztą odgadłabyś łatwo — aby okazać, iż nie wierzę, że ona chce ich szukać — bo muszą cię znać dobrze. Ostatni list, przyznam ci się (cytuję właśnie ten, bo chodzi w nim o drobiazg i nie ma w nim dla ciebie nic przykrego), zdenerwował mnie jednak bardzo. Anonim powiada, że jeżeli w dniu, kiedyśmy opuścili Balbec, chciałaś zrazu zostać, a potem wyjechać, to dlatego, że wśród tego dostałaś list od Anny donoszący, że nie przyjedzie.

— Świetnie wiem, iż Anna napisała, że nie przyjedzie, nawet zadepeszowała, nie mogę ci pokazać depeszy, bo nie schowałam, ale to nie było tego dnia. Cóż ty chcesz, aby to miało dla mnie za znaczenie, czy Anna przyjeżdża do Balbec czy nie?

„Co ty chcesz, aby to miało dla mnie za znaczenie” było dowodem gniewu oraz tego, że „to” miało dla niej znaczenie, ale niekoniecznie było dowodem, że Albertyna wróciła jedynie z chęci ujżenia Anny. Za każdym razem kiedy Albertyna widziała, że jeden z rzeczywistych lub podanych przez nią motywów jej postępków doszedł do wiadomości tego, komu ona podała inny motyw, wpadała w złość, choćby nawet ową osobą był ten, dla kogo ona w istocie to zrobiła. Czy sądziła, że to nie anonimy udzielały mi mimo mojej woli tych informacji, ale że ja sam pragnąłem ich chciwie, tego nie można by zgoda

<sup>1412</sup>denuncjacja — tajemne doniesienie władzom o popełnieniu przez kogoś wykroczenia. [przypis edytorski]

wywnioskować z późniejszych słów Albertyny, kiedy niby to przyjęła moją wersję anonimów; można by natomiast wywnioskować z jej miny pełnej gniewu, gniewu robiącego wrażenie, że jest tylko wybuchem jej dawniejszych złych humorów, tak samo jak moje przespiewki, w które wedle tej hipotezy uwierzyła, byłyby jedynie rezultatem kontroli wszystkich jej czynów, o której nie wątpiła już od dawna. Gniew jej rozszerzył się nawet na Annę; powiadając sobie z pewnością, że teraz nie zaznam już spokoju, nawet kiedy będzie wychodziła z Anną, dodała:

— Zresztą, Anna denerwuje mnie szalenie. Jest straszliwie męcząca. Nie chcę już z nią jeździć na spacer. Możesz to oznajmić tym, co ci powiedzieli, że wróciła do Paryża dla niej. A ja mówię, że po tylu latach znajomości z Anną nie umiałabym powiedzieć, jak ona wygląda, tak mało się jej przyglądałam!

Otóż w Balbec w pierwszym roku powiedziała mi: „Anna jest czarująca”. Prawda, że to nie dowodziło stosunków miłosnych między nimi; wówczas Albertyna wyrażała się z największym oburzeniem o tego rodzaju stosunkach. Ale czy nie mogła się zmienić, nawet nie zdając sobie sprawy z tej zmiany, nie sądząc, aby jej zabawy z przyjaciółką były tym samym co niemoralne stosunki — dość mgliste w jej pojęciu — które piętnowała u innych? Czy nie była możliwa ta sama i tak samo nieświadoma zmiana, jaka zaszła w jej stosunkach ze mną? Toż odepchnęła z takim oburzeniem w Balbec moje pocałunki, którymi później sama miała mnie darzyć codziennie, których (tak spodziewałem się przynajmniej) miała mi użyczyć jeszcze długo, których miała mi użyczyć za chwilę?

— Ależ, kochanie, jakże mam im oznajmić, skoro ich nie znam?

Odpowiedź była tak nieodparta, że powinna była rozproszyć zarzuty i wątpliwości krystalizujące się w żrenicach Albertyny. Ale pozostały nietknięte. Zamilkłem; mimo to ona wciąż patrzyła na mnie z tą wytrwałą uwagą, jakiej użycza się komuś, kto nie skończył mówić. Znowu poprosiłem ją o przebaczenie. Odpowiedziała, że nie ma mi czego przebaczać. Zrobiła się bardzo łagodna. Ale poza jej smutną i zmęczoną twarzą gromadziła się tajemnica. Wiedziałem, że nie może odejść bez uprzedzenia mnie; zresztą nie mogła ani tego pragnąć (za tydzień miała przymierzać suknie Fortuny'ego), ani uczynić tego bez uchybienia przyzwoitości, gdyż matka moja wracała z końcem tygodnia, a ciotka Albertyny również. Skoro niemożliwe było, aby odeszła, czemu powtórzyłem jej kilkakrotnie, że pójdziemy jutro razem obejrzeć szkła weneckie (które chciałem jej ofiarować), i z ulgą usłyszałem z jej ust potwierdzenie tego projektu? Kiedy mogła mi powiedzieć dobranoc i kiedy ją ucałowałem, nie zrobiła jak zawsze, odwróciła się — było to ledwo w kilka chwil po momencie, kiedy pomyślałem o tej słodyczy, że ona mi użycza co wieczór tego, czego mi odmówiła w Balbec — nie oddała mi pocałunku. Można by rzec, że pokłócona ze mną, nie chce mi okazać czułości, która mogłaby mi się wydać później fałszem przeczącym tej zwadzie. Można by rzec, że ona zestrąja swoje postęпки z tą zwadą, ale zachowując miarę, bądź aby jej nie stwierdzać, bądź że zrywając stosunki fizyczne, chciała mimo to zostać ze mną w przyjaźni. Pocałowałem ją wówczas jeszcze raz, przyciskając do serca mieniący się i złocisty lazur Canal Grande oraz sparzone ptaki, symbol śmierci i zmartwychwstania. Ale po raz drugi Albertyna cofnęła się; zamiast mi oddać pocałunek usunęła się z jakimś instynktownym i wróżebnym uporem zwierząt czujących śmierć. To przecucie, które zdawała się wyrażać, udzieliło się mi samemu i napełniło mnie takim lękiem, że kiedy Albertyna oddaliła się ku drzwiom, nie miałem siły dać jej odejść, odwołałem ją.

— Albertyno — rzekłem — mnie się wcale nie chce spać. O ile nie jesteś śpiąca, mogłabyś zostać jeszcze trochę, jeżeli chcesz, ale nie zależy mi na tym, a zwłaszcza nie chciałbym cię męczyć.

Miałem uczucie, że gdybym ją mógł rozebrać i mieć ją w białej nocnej koszuli, w której zdawała się różowsza, cieplejsza, w której bardziej drażniła moje zmysły, pojednanie byłoby pełniejsze. Ale wahałem się chwilę, bo błękitny obrąbek sukni stroił jej twarz piękną, blaskiem, niebem, bez których wydałaby mi się twardsza. Wróciła wolno i rzekła z wielką słodyczą i wciąż z tą samą przybitą i smutną twarzą:

— Mogę zostać ile zechcesz, nie chce mi się spać.

Odpowiedź jej uspokoiła mnie, bo dopóki była ze mną, czułem, że mogę liczyć na przyszłość; kryła również przyjaźń, posłuszeństwo, ale jedynie pewnego typu, ograniczone niejako tym sekretem, którego szukałem poza jej smutnym spojrzeniem, poza zachowaniem się zmienionym na wpół mimo woli, na wpół zapewne po to, aby je z góry



zharmonizować z czymś, czego nie wiedziałem. Zdawało mi się, że jednak wystarczyłoby ujrzyć ją przed sobą całkiem na białym, z nagą szyją, tak jak ją widziałem w Balbec w łóżku, co by mi dało dosyć odwagi, aby ona musiała ulec.

— Skoro jesteś tak poczciwa, że godzisz się zostać trochę, aby mnie pocieszyć, powinnaś być zdjąć suknię; to za gorące, za sztywne, nie śmiem zbliżyć się do ciebie, aby nie zmiać tej pięknej materii, przy tym są między nami te symboliczne ptaki... Rozbierz się, kochanie.

— Nie, to by było nieporęcznie zdejmować tutaj tę suknię. Rozbiorę się u siebie za chwilę.

— Zatem nie chcesz nawet usiąść na moim łóżku?

— Ależ owszem.

Usiadła jednak na pewną odległość, w nogach łóżka. Zaczęliśmy rozmawiać. Wiem, że wymówiłem wówczas słowo „śmierć”, tak jakby Albertyna miała umrzeć. Zdaje się, że wypadki są szersze niż chwila, w której zachodzą, i że nie mogą się w niej zmieścić całe. Niewątpliwie sięgają w przyszłość przez pamięć, którą zachowujemy o nich, ale żądają także miejsca w czasie, który je poprzedza. To pewne, że nie widzimy ich wówczas takimi, jak będą, ale czyż we wspomnieniu nie są również przekształcone?

Kiedym ujrzał, że Albertyna sama z siebie nie całuje mnie, rozumiejąc, że to wszystko będzie stracony czas, że dopiero od pocałunku zaczną się kojące i prawdziwe minuty, powiedziałem: „Dobranoc, późno już jest” w nadziei, że mnie wówczas ucałuje i że potem będziemy to robili dalej. Ale powiedziawszy: „Dobranoc, staraj się zasnąć”, ściśle tak jak dwa poprzednie razy, poprzestała na pocałunku w twarz. Tym razem nie śmiałem jej odwołać, ale serce biło mi tak silnie, że nie mogłem się położyć z powrotem. Niby ptak, który lata z jednego końca klatki w drugi, wciąż przechodziłem od niepokoju, że Albertyna mogłaby opuścić dom, do względnego spokoju. Spokój ten zrodził się z rozumowania, które rozpoczynałem kilka razy na minutę: „W każdym razie nie może odejść bez uprzedzenia mnie, nie mówiła nic, że odejdzie”, i czułem się prawie spokojny. Ale natychmiast powiadałem sobie: „A jednak gdybym miał jej jutro nie zastać? Sam ten mój niepokój musi mieć jakąś przyczynę; czemu mnie ona nie pocałowała?”. Wówczas ścisnęło mi się serce. Potem uspokajało się trochę od rozpoczętego na nowo rozumowania, ale w końcu zaczynała mnie boleć głowa, tak bardzo ten rytm mojej myśli był nieustanny i jednostajny. Istnieją pewne stany duszy, a zwłaszcza lęki, które następczają tylko dwie możliwości, mają coś równie okrutnie ograniczonego jak proste cierpienie fizyczne. Odtwarzałem ustawicznie rozumowanie, które przyznawało rację mojemu niepokojowi, oraz to, które mu przeczyło i które mnie uspokajało, na przestrzeni równie szczupłej jak u chorego, który wewnętrznym ruchem obmacuje bez ustanku bolesny organ, oddala się na chwilę od wrażliwego punktu, aby doń wrócić w chwilę potem.

Naraz w ciszy nocnej uderzył mnie hałas na pozór nieznaczący, ale który mnie przejął grozą, łoskot okna, które się otworzyło nagle w pokoju Albertyny. Kiedy już nic nie było słychać, zastanawiałem się, czemu mnie ten łoskot tak przestraszył. Sam w sobie nie miał nic tak niezwykłego, ale ja mu dawałem prawdopodobnie dwa znaczenia, które mnie na równi przerażały. Najpierw było regułą w naszym domowym życiu, ponieważ bałem się przeciągów, aby nigdy nie otwierano okna w nocy. Wpojono to Albertynie, kiedy zamieszkała u nas; i mimo iż była przeświadczona, że to jest z mojej strony mania, i to niezdrowa, przyrzekła nigdy nie naruszać tego zakazu. A była tak nieśmiała w tym, co dotyczyło moich życzeń, choćby je potępiała, że wiedziałem, iż raczej spałaby w pokoju pełnym dymu, niżby miała otworzyć okno, tak samo jak dla najważniejszej sprawy nie kazałaby mnie obudzić rano. Była to jedna tylko z drobnych konwencji naszego życia, ale z chwilą gdy Albertyna gwałciła tę konwencję, nie wspomniawszy mi o tym, czyż nie znaczyło to, że nie ma już czego oszczędzać, że pogwałciłaby równie dobrze wszystkie. Następnie ten łoskot był gwałtowny, prawie impertynencki, tak jakby otwarła okno czerwona z gniewu, mówiąc: „Duszę się tu, wszystko mi jedno, chcę powietrza!”. Nie mówiłem sobie ściśle tego, ale nadal myślałem — niby o przepowiedni bardziej tajemniczej i złowrogiej niż krzyk puszczyka — o tym łoskocie, z jakim otwarła okno Albertyna. Pełen wzruszenia, jakiego może nie zaznałem od wieczoru w Combray, kiedy Swann był u nas na obiedzie, chodziłem długo po korytarzu, mając nadzieję, że hałasem ściągnę uwagę Albertyny, że

zlituje się nade mną i zawoła mnie; ale nie słyszałem żadnego szmeru. Pomału uczułem, że jest za późno. Musiała od dawna spać. Wróciłem, aby się położyć.

Nazajutrz, skoro się tylko obudziłem, ponieważ nigdy, co bądź by się stało, nie wchodzono do mnie bez wezwania, zadzwoniłem na Franciszkę. I równocześnie myślałem: „Pomówię z Albertyną o jachcie, który chcę dla niej zamówić”. Biorąc listy, rzekłem do Franciszki, nie patrząc na nią:

— Za chwilę będę chciał widzieć pannę Albertynę, czy już wstała?

— Tak, wstała wcześniej.

Uczułem, że się we mnie zrywa, niby od uderzenia wichru, tysiąc niepokojów, których nie umiałem utrzymać w piersi. Huragan był taki, że dech mi zapierało w piersiach jak w czasie burzy.

— A! Ale gdzie jest teraz?

— Musi być u siebie.

— A, dobrze, dobrze, poproszę ją za chwilę.

Odetchnąłem, była tuż, wzruszenie moje opadło, Albertyna jest w domu, było mi niemal obojętne, że jest. Zresztą, czyż nie byłoby niedorzeczne przypuszczać, że mogłoby jej nie być? Zasnąłem, ale mimo pewności, że ona mnie nie opuści, sen mój był lekki, i to lekki tylko w stosunku do niej. Bo hałasy sprawiane robotami w dziedzińcu, mimo że je słyszałem mętnie przez sen, nie naruszały mego spokoju, podczas gdy najłżejszy szelest z pokoju Albertyny, kiedy wychodziła lub wracała po cichu, przyciskając tak lekko kławkę, wstrząsał mnie dreszczem, przebiegał mnie całego, przyprawiał mnie o bicie serca, mimo że go słyszałem w głębokim uśpieniu, tak samo jak babka w ostatnich dniach przed śmiercią, pogrążona w bezwładzie, którego nic nie mąciło i który lekarze nazywali *coma*, zaczynała, jak mi powiedziano, drżeć przez chwilę jak liść, kiedy słyszała trzy dzwonki, którymi zwykle był wzywać Franciszkę i których nawet kiedy się starałem dzwonić najłżej, aby nie mącić ciszy śmiertelnego pokoju, nikt (zapewniała mnie Franciszka) nie mógł pomylić z innymi z powodu sposobu, w jaki, nie wiedząc o tym, naciskałem dzwonek. Czyż to ja sam byłem już w agonii, czy to była bliskość śmierci?

Tego dnia i nazajutrz wyszliśmy z Albertyną razem wobec tego, że nie chciała już wychodzić z Anną. Nie wspominałem jej nawet o jachcie. Te spacerki uspokoiły mnie zupełnie. Ale ona nadal całowała mnie wieczorem w ten nowy sposób, tak że byłem wściekły. Mogłem w tym już tylko widzieć chęć okazania, że się dąsa na mnie, co mi się wydawało zbyt niedorzeczne po wszystkim, com wciąż robił dla niej. Toteż nie mając z niej już nawet satysfakcji fizycznych, na których mi zależało, znajdując ją brzydka, kiedy była w złym humorze, tym żywiej odczułem wyrzeczenie się wszystkich kobiet oraz podróży, których żądzą obudziły we mnie pierwsze piękne dni. Z pewnością dzięki dorywczym wspomnieniom zapomnianych schadzek jeszcze z uczniowskich czasów, pod gęstą już zielonością, ta wiosna, w której podróż naszej wędrowniej siedziby poprzez pory roku zatrzymała się od trzech dni pod łaskawym niebem i której wszystkie drogi uciekały ku śniadaniom na wsi, wiosłowaniu, wycieczkom i zabawom, zdawała mi się krainą kobiet, jak była krainą drzew, i krainą, gdzie zewsząd wabiąca rozkosz stawała się dozwolona moim wracającym siłom. Rezygnacja na lenistwo, rezygnacja na czystość, na to, aby znać rozkosz jedynie z kobietą, której nie kochałem, rezygnacja na to, żeby siedzieć w pokoju, nie podróżować, wszystko to było możliwe w starym świecie, gdzie byliśmy jeszcze wczoraj, w pustym świecie zimy, ale już nie w tym świecie nowym, zieleniącym się liśćmi, gdzie obudziłem się niby młody Adam, dla którego nastęcza się pierwszy raz problem istnienia, szczęścia i nad którym nie ciąży spiętrzenie dawniejszych negatywnych rozwiązań.

Obecność Albertyny ciążyła mi; patrzyłem na nią markotnie, odczuwając jako nie-szczęście to, żeśmy nie zerwali z sobą. Chciałem jechać do Wenecji, chciałem tymczasem iść do Luwru oglądać obrazy weneckie i do Luksemburgu<sup>1413</sup> oglądać dwa obrazy Elstira, które, jak właśnie mówiono, księżna Gilbertowa sprzedała temu muzeum; te, które tak podziwiałem, *Rozkosze tańca* i *Portret rodziny X*. Ale bałem się, żeby na pierwszym z nich pewne lubieżne pozy nie obudziły w Albertynie tęsknoty do uciech ludowych, podsuwając jej myśl, że może pewne życie, którego nie zaznała, rozkosze ogni sztucznych

<sup>1413</sup>Luksemburg — tu: Muzeum Luksemburskie, znajdujące się niewielkim renesansowym budynku w Ogrodzie Luksemburskim w Paryżu; otwarte w 1750, stanowiło pierwszą publiczną placówkę muzealną we Francji, w 1818 stało się pierwszym muzeum sztuki współczesnej. [przypis edytorski]

i podmiejskich gospód mają swoje powaby. Już z góry bałem się, aby w dniu 14 lipca<sup>1414</sup> nie oświadczyła, że chce iść na bal ludowy i marzyłem o czymś niemożliwym, co by udamremniło tę fetę. A także były również w tych Elstirach nagości kobiece, na tle bujnych krajobrazów Południa, zdolne obudzić w Albertynie myśl o pewnych rozkoszach, mimo iż Elstir sam (ale czy Albertyna nie ściągnęłaby dzieła w dół?) widział w tym tylko piękność posągową, aby rzec lepiej, piękność białych posągów, jakiej nabierają ciała kobiet siedzących wśród zieleni. Toteż pogodziłem się z tym wyrzeczeniem się i zdecydowałem jechać do Wersalu.

Albertyna została w swoim pokoju, w szlafroczku Fortuny'ego, aby czytać. To było w niej uroczę, że zawsze była gotowa na wszystko, może stąd, że nawykła niegdyś spędzać pół życia u obcych. Tak samo jak się w dwie minuty zdecydowała jechać do Paryża, tak i teraz rzekła: „Mogę jechać jak jestem, nie będziemy wysiadali”. Zawahała się sekundę między dwoma płaszczami, aby ukryć swój szlafroczek — tak jakby się zawahała między towarzystwem dwóch przyjaciół — wzięła wspaniałą ciemnoniebieski płaszcz, przypięła kapelusz. Zanim zdążyłem wziąć palto, w minutę była gotowa i pojechaliliśmy do Wersalu. Sama ta szybkość, absolutna uległość uspokoiły mnie tak, jak gdybym — mimo iż nie mając żadnego ścisłego powodu do niepokoju — w istocie potrzebował tego. „Bądź co bądź, nie mam się czego obawiać; robi wszystko, o co poproszę, mimo łoskotu okna tamtej nocy. Z chwilą gdy zaproponowałem spacer, narzuciła płaszcz na peniuar i była gotowa; tego by nie zrobiła kobieta zbuntowana, osoba, która by mnie już nie chciała” — powiadałem sobie w drodze do Wersalu. Zostaliśmy tam długo. Niebo było całe z owego promiennego, nieco bladego błękitu, jaki przechadzając się i leżąc w polu, widzimy czasem nad głową; jest wówczas tak gładkie, tak głębokie, że czujemy, iż błękitu, z którego je sporządzono, użyto bez żadnej domieszki, tak niewyczerpanie bogato, że można by zgłębiać coraz to więcej jego substancję, nie spotykając ani atomu czegoś innego niż ten właśnie błękit. Myślałem o babce, która w sztuce ludzkiej, w naturze kochała wielkość i lubiła w tym samym błękitcie oglądać wieżę Św. Hilarego. Nagle uczulem na nowo nostalgię straconej wolności, słysząc hałas, którego nie poznałem zrazu, a który babka byłaby również tak lubiła. Było to niby brzęczenie osy.

— O, rzekła Albertyna — samolot, jest bardzo, bardzo wysoko”.

Popatrzyłem dokoła, ale widziałem jedynie nietkniętą bladość błękitu bez domieszki, bez żadnej czarnej plamy. Słyszałem mimo to wciąż brzęczenie skrzydeł, które nagle weszły w pole mojego widzenia. Wysoko, maleńkie, ciemne i błyszczące skrzydła marszczyły gładki błękit nieskażonego nieba. Mogłem wreszcie związać brzęczenie z jego przyczyną, z małym owadem, który drgał tam w górze, z pewnością na dobre dwa tysiące metrów; widziałem, jak huczy. Może niegdyś, kiedy szybkość nie skróciła jeszcze odległości na ziemi jak dzisiaj, gwizd pociągu przechodzącego o dwa kilometry posiadał tę piękność, która teraz, na jakiś czas jeszcze, wzrusza nas w warczeniu samolotu o dwa tysiące metrów przez myśl, że odległości przebiegane w tej pionowej podróży są te same co na ziemi i że w tym innym kierunku, gdzie miary wydają się nam inne, ponieważ dostęp do nich wydawał się nam nieosiągalny, samolot o dwa tysiące metrów jest nie dalej niż pociąg o dwa kilometry, jest nawet bliżej, gdyż identyczna droga odbywa się w środowisku czystszy, bez zapór między podróżnym a jego punktem wyjścia, tak jak na morzu lub na równinie, w spokojny czas, smuga dalekiego już okrętu lub powiew wiatru żłobią bruzdę w oceanie wód lub zboża.

— W gruncie nie chce się nam jeść, można by wstąpić do Verdurinów — rzekła Albertyna — to ich godzina i ich dzień.

— Ale skoro ty się gniewasz na nich?

— Och, narobili strasznie dużo plotek, ale w gruncie rzeczy nie są tacy źli. Pani Verdurin była zawsze bardzo miła dla mnie. A przy tym nie można się wiecznie gniewać ze wszystkimi. Mają wady, ale któż ich nie ma.

— Nie jesteś ubrana, trzeba by wracać się przebrać, byłoby późno.

Dodałem, że mam ochotę wstąpić gdzieś na podwieczorek.

<sup>1414</sup>14 lipca — dzień najważniejszego święta narodowego w Republice Francuskiej, upamiętniający zdobycie Bastylii przez ludność Paryża (14 lipca 1789), co uznaje się za symboliczny początek Wielkiej Rewolucji Francuskiej. [przypis edytorski]

— Tak, masz rację, zjedźmy po prostu podwieczorek — odparła Albertyna z tą cudowną uległością, która mnie zawsze zdumiewała. Zatrzymaliśmy się przed wielką cukiernią, położoną prawie za miastem i zażywającą w tej chwili pewniej renomy. Dama jakaś wychodziła i poprosiła kelnerkę o swoje rzeczy. I skoro ta dama wyszła, Albertyna popatrzyła kilkakrotnie na kelnerkę, tak jakby chciała ściągnąć jej uwagę, podczas gdy ta porządkowała filiżanki, talerzyki, ptifury, bo już było późno. Podchodziła jedynie wtedy, kiedy żądałem czegoś. I zdarzało się wówczas, że — kiedy kelnerka, zresztą bardzo wysoka, stała gotowa do obsłużenia nas, a Albertyna siedziała koło mnie — za każdym razem Albertyna, aby ściągnąć jej uwagę, zwracała ku niej pionowo jasne spojrzenie, zmuszona podnosić wysoko żrenice, ponieważ z powodu bliskości, w jakiej stała młoda kobieta, niepodobna jej było zmniejszyć kąta spojrzenia. Musiała, nie zadzierając zbyt głowę, sięgać wzrokiem na tę nadmierną wysokość, na której znajdowały się oczy dziewczyny. Przez uprzejmość dla mnie Albertyna szybko spuszczała oczy, że zaś kelnerka nie zwróciła na nią uwagi, zaczynała na nowo. Tworzyło to istną serię daremnych błagalnych wzlotów ku niedostępnemu bóstwu. Potem kelnerce pozostał już tylko do sprzątnięcia sąsiedni stolik. Tam spojrzenie Albertyny mogło jej dosięgnąć swobodnie. Ale ani razu wzrok kelnerki nie spoczął na mojej przyjaciółce. To mnie nie dziwiło, bo wiedziałem, że ta kobieta, którą znałem troszkę, miała kochanków, mimo iż zamężna, ale ukrywała doskonale swoje miłostki, co mnie dziwiło niepomernie z powodu jej zdumiewającej głupoty. Patrząc na tę kobietę, gdyśmy kończyli podwieczorek. Zajęta porządkowaniem, była prawie niegrzeczna dla Albertyny, nie znajdując dla niej ani jednego spojrzenia, mimo iż w zachowaniu się Albertyny nie było zresztą nic niestosownego. Tamta porządkowała, porządkowała bez końca, bez jednej dystrakcji<sup>1415</sup>. Gdyby ułożenie łyżeczek i nożyków do owoców powierzono nie dużej pięknej kobiecie, ale (przez oszczędność pracy ludzkiej) prostej maszynie, i wówczas obojętność na zachowanie się Albertyny nie byłaby większa; a mimo to piękna kelnerka nie spuszczała oczu, nie zamyślała się, pozwalała błyszczeć swoim oczom, swoim wdziękom, pochłonięta jedynie pracą. Prawda, iż gdyby ta kelnerka nie była osobą szczególnie głupią (nie tylko miała tę reputację, ale wiedziałem o tym z doświadczenia), obojętność ta byłaby może szczytem zęczności. I wiem, że najgłupsza nawet istota, jeżeli jej pragnienie lub interes są w grze, może, w tym jednym wypadku, wśród nicości swego głupiego życia dostosować się natychmiast do kółek najbardziej złożonego mechanizmu; mimo wszystko byłoby to jednak domniemanie zbyt subtelne dla kobiety równie głupiej jak ta kelnerka. Ta głupota przybierała nawet nieprawdopodobny charakter impertynencji! Ani razu nie spojrziała na Albertynę, której nie mogła przecież nie widzieć. Było to niezbyt uprzejme dla mojej towarzyszki, ale w gruncie byłem uszczęśliwiony, że Albertyna dostała tę małą lekcję i przekonała się, iż często kobiety nie zwracają na nią uwagi.

Opuściliśmy cukiernię, wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy do domu, kiedy naraz zacząłem żałować, że nie wziąłem na bok kelnerki i nie poprosiłem na wszelki wypadek, aby nie mówiła damie, która wyszła w chwili naszego przybycia, mego nazwiska i adresu, które kelnerka z powodu moich częstych zamówień musiała znać doskonale. Było w istocie zbyteczne, aby owa dama mogła w ten sposób uzyskać pośrednio adres Albertyny. Ale wydało mi się zbyt kłopotliwe wracać z drogi dla takiej drobnostki; pomyślałem, że to by znaczyło nadawać temu za wiele wagi w oczach głupiej i kłamliwej kelnerki. Pomyślałem tylko, że trzeba będzie wstąpić tam na podwieczorek za jakiś tydzień, żeby jej to powiedzieć; jakie to nudne, kiedy się ma zwyczaj zapominać połowy tego, co się ma do załatwienia, musieć najprostsze rzeczy robić na kilka razy!

Kiedy się nad tym zastanawiam, trudno mi wprost opowiedzieć przy tej sposobności, jak dalece życie Albertyny było pokryte tajonymi, ulotnymi, sprzecznymi często pragnieniami. Bez wątpienia kłamstwo komplikowało jeszcze to życie. Kiedy nie przypominając już sobie dobrze naszych poprzednich rozmów, Albertyna powiedziała: „Och, to ładna dziewczyna, dobrze grała w golfa”, a ja spytałem o nazwisko owej dziewczyny, odpowiedziała owym obojętnym, ogólnikowym tonem wyższości, który zapewne zawsze jest do dyspozycji, bo każdy kłamca tego typu znajduje go na chwilę, ilekroć nie chce odpowiedzieć na jakieś pytanie: „Och, nie wiem — z żalem, że mnie nie może objaśnić —

<sup>1415</sup>dystrakcja (daw.) — roztargnienie, rozproszenie uwagi, skupienia. [przypis edytorski]

nigdy nie znalazłam jej nazwiska, widywałam ją na golfie, ale nie wiedziałam, jak się nazywa”. I kiedy znów w miesiąc później rzekłam: „Albertyno, wiesz, ta ładna dziewczyna, o której mówiłaś, co grała tak dobrze w golfa...” — „A, tak — odpowiadała bez zastanowienia — Emilia Daltier, nie wiem, co się z nią stało”. I kłamstwo, niby fortyfikacja polowa, z obrony zdobytego obecnie nazwiska przeniosło się na możliwości odnalezienia tej osoby. „Ach, nie wiem, nie znalazłam nigdy jej adresu. Nie mam pojęcia, kto by cię mógł objaśnić. Och, nie, Anna jej nie знаła. Ona nie należała do naszej bandy, dziś tak rozproszona”. Innym razem kłamstwo było niby brzydkie wyznanie: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy franków renty...”. Przygryzła wargi. „Co byś zrobiła?” — „Poprosiłabym cię — rzekła, ściskając mnie — o pozwolenie zostania tutaj. Gdzież mogłabym być szczęśliwsza?”. Ale nawet biorąc w rachubę kłamstwa, niewiarygodne było, do jakiego stopnia życie Albertyny było zmienne i jak ulotne były jej najżywsze pragnienia. Szalała za jakąś osobą, a za trzy dni nie zechciałaby jej widzieć. Nie mogła wyczekać ani godziny, żebym jej kupił płótna i farby, chciała się zabrać z powrotem do malarstwa. Dwa dni niecierpliwiła się, płakała prawie szybko osychającymi łzami dziecka, któremu zabrano mamkę. I ta nieśmiałość uczuć w stosunku do osób, rzeczy, zajęć, sztuk, krajów, była w niej tak powszechna, że jeżeli kochała pieniądze (czego nie przypuszczam) nie mogła ich kochać dłużej niż innych rzeczy. Kiedy mówiła: „Och! Gdybym miała trzysta tysięcy renty!”, nawet jeżeli wyrażała myśl złą, ale nietrwałą, nie mogłaby jej zachować dłużej niż chęci wybrania się do Rochers, których widok ujrzała w wydaniu pani de Sévigné po babce, niż chęci odszukania przyjaciółki z golfa, podróży samolotem, spędzenia świąt Bożego Narodzenia u ciotki lub wzięcia się na nowo do malarstwa.

Wróciliśmy późno w ciemności, w której tu i ówdzie na skraju drogi czerwone spodnie obok spódnicy zdradzały zakochaną parę. Powóz nasz minął Porte Maillot. Miejsce gmachów paryskich zastąpił czysty, linearny, pozbawiony konsystencji rysunek gmachów paryskich, tak jakby ktoś odtwarzał obraz zniszczonego miasta. Ale na skraju tego obrazu wznosiła się z taką słodczą blado niebieska listewka, od której obraz się odcinał, że spragnione oczy wszędzie szukały jeszcze trochę tego rozkosznego odcienia, który im odmierzono zbyt skąpo. Był księżyc, Albertyna zachwycała się nim. Nie śmiałem jej powiedzieć, że lepiej bym się nim cieszył, gdybym był sam albo w pogoni za jakąś nieznaną. Recytowałem wiersze lub ustępy prozą o blasku księżyca, zwracając uwagę Albertyny, jak ze srebrnego, jakim był niegdyś, stał się niebieski u Chateaubrianda, u Wiktora Hugo z *Eviradnusa* i z *Fête chez Thérèse*<sup>1416</sup>, aby się stać znowuż żółtym i metalicznym z Baudelaire’em i Leconte de Lisle’em<sup>1417</sup>. Potem, przypominając jej obraz, jaki tworzy sierp księżyca pod koniec *Śpiącego Booza*<sup>1418</sup>, wyrecytowałem cały utwór.

Wróciliśmy. Tej nocy piękny czas uczynił skok naprzód, jak termometr podnosi się od gorąca. W ciągu wczesnie wstających ranków wiosennych, które nadeszły, słyszałem tramwaje wędrujące poprzez zapachy — w powietrzu, które nasycalo się coraz to więcej gorącem, aż to powietrze nabrało zwartości i gęstości południa. Kiedy tłuste powietrze skończyło werniksować i wyodrębnić zapach *lavabo*<sup>1419</sup>, zapach szafy, zapach kanapy, wówczas po samej wyrazistości, z jaką prostopadle stojące przedmioty grupowały się w równoległych i odrębnych transzach, w perłowym półcieniu przydającym łagodniejszego głansu refleksowi firanek i niebieskich atlasowych foteli, widziałem się — nie przez prosty kaprys wyobraźni, ale dlatego, że to było istotnie możliwe — idącym, w jakiejś nowej dzielnicy podmiejskiej, podobnej do tej, w której Bloch mieszkał w Balbec, ulicami zalany słońcem, odnajdując tam nie mdłe sklepy rzeźnicze i biały kamień ciosowy, ale wiejską jadalnię, gdzie bym mógł wejść zaraz, i zapachy, jakie bym zastał, wchodząc, zapach klosza z wiśniami i brzoskwiniami, cydru, sera *gruyère*, zawieszono niejako w świetlnej galarecie cienia, który prądkowały delikatnie niby wnętrza agatu, podczas

<sup>1416</sup>*Eviradnus, Fête chez Thérèse* — wiersze Wiktora Hugo: *Eviradnus*, wchodzący w skład drugiej części poematu *La Légende des siècles* (Legenda wieków); *Fête chez Thérèse*: ze zbioru *Les Contemplations* (Zamyślenia, 1855). [przypis edytorski]

<sup>1417</sup>*Leconte de Lisle, Charles* (1818–1894) — francuski poeta i filozof, przedstawiciel parnasizmu. [przypis edytorski]

<sup>1418</sup>*Śpiący Booz* — fr. *Booz endormi*, poemat Wiktora Hugo z tomu *La Légende des siècles* (Legenda wieków), oparty na historii biblijnej z *Księgi Rut*. [przypis edytorski]

<sup>1419</sup>*lavabo* (łac., fr.) — umywalka; umywalnia. [przypis edytorski]

gdy szklane podpórki na noże iryzują tęcze lub rzucają pawie oczka na stół pokryty ceratą. Niby wiatr wzbierający coraz to silniej, z radością słyszałem pod oknami samochod. Czulem zapach benzyny. Ten zapach może być przykry dla ludzi delikatnych (zawsze materialistów), którym psuje on wieś, i dla pewnych myślicieli (również materialistów na swój sposób), którzy uznając wagę faktu, wyobrażają sobie, że człowiek byłby szczęśliwszy i dostępny wyższej poezji, gdyby jego oczy zdolne były widzieć więcej kolorów, nozdrza znać więcej zapachów; filozoficzna maskarada naiwnych pojęć u tych, co myślą, że życie było piękniejsze, kiedy zamiast czarnego fraka nosiło się bogate stroje. Ale dla mnie (tak samo jak przykry może sam w sobie zapach naftaliny i bagna unosiłby mnie, wracając mi błękitną czystość morza z pierwszego dnia w Balbec) ten zapach benzyny, który wraz z dymem wydobywającym się z samochodu tyle razy zamierał w bladym lazurze w owe palące dni, kiedy jechałem z Saint-Jean de la Haise do Gourville, tak jak mi towarzyszył na spacerach w ciągu owych letnich popołudni, kiedy Albertyna malowała, rozwijał teraz dokoła mnie, mimo że siedziałem w ciemnym pokoju, bławatki, maki, szkarłatną koniczynę, upajał mnie wonią wsi, nie zapach określony i stały, jak ten, który skupia się koło głogów i który uwieczniony przez swoje tłuste i gęste składniki, wisi dokoła żywopłotu, ale zapach, przed którym uciekały drogi, zmieniał się charakter gruntu, nadbiegały zamki, bladło niebo, zdziesięciokrotniały się siły, zapach będący niby symbolem skoku i mocy, odnawiający moje dawne pragnienie z Balbec, żeby wsiąść w klatkę z kryształu i stali, ale tym razem nie po to, aby składać wizyty w znajomych domach z kobietą, którą znałem zbyt dobrze, ale aby się kochać w nowych miejscach z kobietą nieznaną. Zapach, któremu towarzyszyły co chwila trąbki przejeżdżających automobilów, pod które podkładałem słowa niby pod pobudkę wojskową: „Paryżanie, wstawajcie, chodźcie śniadać na trawie, pływać łodzią po rzece, w cieniu pod drzewami, z piękną dziewczyną; wstawaj, wstawaj”. I wszystkie te marzenia były mi tak mile, że winszowałem sobie „surowego prawa”, które sprawiało, iż dopóki nie zadzwonię, żaden „trwożny śmiertelnik”, nawet Franciszka, nawet Albertyna, nie ośmieliłby się niepokoić mnie „w głębi tego pałacu”, gdzie straszliwy majestat czyni mnie niewidzialnym oczom poddanych. Naraz dekoracja zmieniła się: wspomnienie nie już dawnych wrażeń, ale dawnego pragnienia, całkiem świeżo jeszcze obudzonego błękitno-złotą suknią Fortuny’ego, rozpostarło przede mną inną wiosnę, wiosnę już wcale nie spowitą w liście, ale przeciwnie, odartą nagle z drzew i kwiatów przez nazwę, którą szepnąłem: „Wenecja”; wiosna wyklarowana, sprowadzona do swojej esencji, stopniowe wydłużenie, rozgrzanie, rozkwit swoich dni tłumacząca postępującą fermentacją już nie nieczystej ziemi, ale dziewiczej i modrej wody; wiosna, choć bez kwiatów i mogąca odpowiadać majowi jedynie przez refleksy, kształtowana przez niego, zestrojona z nim ściśle w promiennej i stałej nagości ciemnego szafiru. To też jak pory roku nie zmieniają niekwitnących ramion morza, tak współczesne lata nie przynoszą zmian gotyckiemu miastu; wiedziałem o tym, nie mogłem sobie tego wyobrazić, ale oto co chciałem oglądać z tą samą namiętnością, która niegdyś, kiedym był dzieckiem, w gorączce wyjazdu, skruszyła we mnie siłę jechania; chciałem się znaleźć twarzą w twarz ze swymi weneckimi rojeniami, widzieć jak to rozszczerzone morze obejmuje swymi zakrętami, niby skręty rzeki Oceanu, miejską i wyrafinowaną cywilizację, która odcięła ich lazurową przepaskę, rozwinięła się odrębnie, miała swoje osobne szkoły malarstwa i architektury; chciałem podziwiać ten bajeczny ogród owoców i ptaków z kolorowego kamienia, kwitnący pośród morza, które skrapiało go swoją falą, które uderzało nią o słupy kolumn i na potężnych rzeźbach kapitelów, niby ciemne lazurowe oko czuwające w cieniu, kładło plamami wiekuiście drgające światło. Tak, trzeba było jechać, to był moment. Od czasu jak Albertyna nie robiła już wrażenia pogniewanej, posiadanie jej nie wydawało się już skarbem, w zamian za który gotowi jesteśmy oddać wszystko inne. Bo zrobilibyśmy to jedynie po to, żeby się pozbyć zgryzoty, lęku — obecnie uśmierzonych. Udało się nam przeskoczyć płócienną obręcz, o której myśleliśmy przez chwilę, że jej nigdy nie zdołamy przebyć. Zażegnaliśmy burzę, sprowadziliśmy pogodę uśmiechu. Niepokojąca tajemnica nienawiści bez znanej przyczyny i może bez końca rozproszyła się. Z tą chwilą odnajdujemy się twarzą w twarz z chwilowo odsuniętym problemem szczęścia, o którym wiemy, że jest niemożliwe. Teraz, kiedy życie z Albertyną stało się znów możliwe, czulem, że mógłbym w nim znaleźć jedynie same nieszczęścia, skoro mnie ona nie kocha; lepiej było opuścić ją w słodyczy jej zgody, którą przedłużyłbym wspomnie-

niem. Tak, to był moment; trzeba się było dobrze poinformować, kiedy Anna ma opuścić Paryż, wpłynąć energicznie na panią Bontemps, tak aby być całkiem pewnym, że w tej chwili Albertyna nie mogłaby się udać ani do Holandii, ani do Montjouvain. Gdybyśmy lepiej umieli analizować swoje uczucia, okazałoby się, że często kobiety podobają nam się jedynie przez mężczyzn, którym musimy je wydzierać, choćbyśmy śmiertelnie cierpieli od tego, że musimy o nie walczyć; z chwilą zniknięcia przeciwwagi, urok kobiety pierzcha. Mamy tego bolesny i ostrzegawczy przykład w predylekcji<sup>1420</sup> mężczyzn do kobiet, które zanim ich poznały, wiodły swobodne życie; do kobiet, dokoła których czują atmosferę niebezpieczeństwa, które trzeba im wciąż zdobywać na nowo; przykład przeciwnie *ex post* — i zgoła niedramatyczny — w człowieku, który czując, że słabnie jego skłonność do kochanej kobiety, samorzutnie stosuje odkryte przez siebie prawidła i aby być pewnym, że nie przestanie jej kochać, rzuca kobietę w niebezpieczne środowisko, gdzie trzeba mu jej bronić co dzień. (Przeciwieństwo mężczyzn żądających, aby kobieta wyrzekła się teatru, mimo iż dlatego właśnie ją pokochali, że była w teatrze).

Kiedy w ten sposób rozstanie się z Albertyną nie groziłoby już niczym, trzeba by wybrać piękny, pogodny dzień jak dzisiejszy — miało być takich wiele — w którym byłaby mi obojętna, kiedy by mnie kusilo tysiąc pragnień; trzeba by jej pozwolić wyjść bez widzenia się z nią, potem wstawszy i zebrawszy się szybko, zostawić jej słówko i nie zobaczywszy się z nią, jechać do Wenecji, korzystając z tego, że ponieważ Albertyna nie może w tym czasie udać się do żadnego z miejsc, które mnie niepokoiły, zdołałbym w czasie podróży nie wyobrażać sobie jej możebnych wybryków, które mi się zdawały w tej chwili zresztą bardzo obojętne.

Zadzwońnię na Franciszkę, żeby mi kupiła przewodnik i rozkład jazdy, tak jak robiłem dzieckiem, kiedy już obmyślałem podróż do Wenecji — realizację pragnienia równie gwałtownego jak to, którego doświadczałem w tej chwili; zapomniałem, że od tego czasu było inne, którym osiągnął i to bez żadnej przyjemności: pragnienie Balbec; i że Wenecja, będąc również zjawiskiem widzialnym, nie mogłaby prawdopodobnie, tak samo jak Balbec, spełnić niewysłowionego marzenia, marzenia o czasach gotyckich, zaktualizowanych wiosennym morzem; marzenia, które na chwilę musnęło mój intelekt zaczarowanym, piesszczotliwym, nieuchwytnym, tajemniczym i mętnym obrazem. Usłyszawszy dzwonek, Franciszka weszła, dość niespokojna o to, jak przyjmę jej słowa i jej postąpienie.

— Bardzo się trapiła — rzekła — że panicz tak późno dzwoni dzisiaj. Nie wiedziałam, co robić. Dziś rano o ósmej panna Albertyna kazała sobie przynieść kufry, nie śmiałam się sprzeciwić, bałam się, że mnie panicz zeklnie, gdybym go obudziła. Darmo jej mówiłam, że chyba nie ma sumienia, żeby zaczekała choć godzinę, bo wciąż myślałam, że panicz zadzwoni; nie chciała, zostawiła ten list dla panicza i o dziewiątej pojechała.

Jak dalece człowiek nie może wiedzieć, co w sobie kryje! Dopiero co byłem przeświadczony o swojej obojętności dla Albertyny! I w tej chwili straciłem oddech, przytrzymałem serce obiema rękami zwilgłymi nagle od osobliwego potu, którego nie znałem od czasu zwierzeń uczynionych mi przez Albertynę w kolejce, a tyjących przyjaciółki panny Vinteuil. Ale nie mogłem powiedzieć nic więcej jak tylko:

— A! Wybornie, oczywiście, dobrze Franciszka zrobiła, że mnie nie budziła; niech mnie Franciszka teraz zostawi trochę, zadzwonię za chwilę.

<sup>1420</sup>predylekcja — skłonność do kogoś lub czegoś. [przypis edytorski]

# Utracona<sup>1421</sup>

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Panna Albertyna wyjechała.” O ileż głębsze prawdy odsłania w nas ból niż cała psychologia! Zaledwie przed chwilą, badając własne uczucia, myślałem jeszcze, że nagle rozstanie bez pożegnań byłoby właśnie tym, czego sobie życzę. Porównywałem bladą nijakość zaznawanych przy Albertynie rozkoszy z przepychem pragnień, których z jej powodu zmuszony byłem się wyrzec, a które na powierzchnię wyniosła, współdziałając z moim wewnętrznym ciśnieniem atmosferycznym, pewność, że Albertyna zawsze będzie przy mnie. Lecz wobec wiadomości o jej wyjeździe żadne z tych pragnień nie mogło się ostać, po prostu wszystkie naraz się ulotniły. Podziwiając własną przenikliwość, uznałem, że nie pragnę już jej widoku, że już jej nie kocham. Tymczasem słowa: „Panna Albertyna wyjechała”, zadały mojemu sercu ból tak wielki, że nie wyobrażałem sobie, jak miałbym go znieść dłużej niż przez chwilę.<sup>1422</sup> To, co zdawało się nic już dla mnie nie znaczyć, okazało się wszystkim! Jakże niewiele wiemy sami o sobie.<sup>1423</sup> Musiałem czym prędzej położyć kres cierpieniu. Z tklivością, jaką miała moja matka dla umierającej babki, zapewniałem sam siebie, pełen owej dobrej woli, która ogarnia nas, gdy chcemy oszczędzić bólu najbliższej osobie: „Wytrzymaj jeszcze chwilę, zaraz znajdzie się jakieś lekarstwo, i nie bój się, nikt nie pozwoli, byś cierpiał tak strasznie”. Czulem już mgliście, iż wyobrażenie tego zdarzenia jako rzeczy obojętnej, a nawet pożądanej, wysnute na chwilę przed sięgnięciem po dzwonek, mogło zrodzić się jedynie dzięki temu, że odejście Albertyny miałem za absolutnie nieprawdopodobne. Oto, do jakich myśli Ignął mój zmysł przetrwania, szukając czegokolwiek, co da się przyłożyć do otwartej rany, by złagodziło ból<sup>1424</sup>: „Nic się nie stało, bo zaraz, natychmiast sprowadzę ją z powrotem. Jakiś sposób się musi znaleźć, by najdalej dziś wieczorem znów tu była. Po cóż więc miałbym się zamartwiać”. „Nic się nie stało” — powtarzałem sobie, ale nie mogłem zaznać ulgi, póki nie narzuciłem owego mniemania Franciszce, przy czym nie wolno mi było dać jej poznać, że cierpię; bo nawet w tamtej chwili, kiedy ból targał mną z największą siłą, moja miłość chciała uchodzić za spełnioną i szczęśliwą, zwłaszcza w oczach Franciszki, która nie lubiła Albertyny i zawsze wątpiła w szczerść jej uczuć.

Otóż zanim zjawiła się Franciszka, zaledwie przed chwilą, obserwowałem swoje wnętrze z chłodną bezstronnością badacza, którego uwagi nie ujdzie żaden szczegół, i byłem pewien, że nie kocham już Albertyny. Sądziłem, że znam wszystkie zakamarki mojego serca. Ale umysł, nawet najbardziej przenikliwy, nie może zobaczyć substancji, która go wypełnia, nie może jej nawet odgadnąć, póki jakieś zdarzenie nie wytrąci jej ze stanu lotnego, w jakim przebywa zazwyczaj, i nie obróci w ciało stałe. Myliłem się, gdy wierzyłem, że potrafię czytać we własnym sercu. Wiedza o nim, która oparła się moim najwnikliwszym dociekaniom, objawiła mi się, niczym olśniewający, twardy kryształ nieznaney soli, pod nagłym ciśnieniem gwałtownego bólu.<sup>1425</sup> Przywykłem mieć Albertynę zawsze w zasięgu ręki. A teraz, bez uprzedzenia, Przyzwyczajenie ukazało mi swoją drugą twarz. Przedtem dostrzegałem w nim tylko gnuśną siłę odbierającą przeżyciom świeżość, siłę, która może unicestwić wszelką zdolność przeżywania. Teraz jednak ukazało mi się jako groźna bogini o nieprzeniknionym obliczu, która potrafi zdomowić się w sercu, zapuścić w nim korzenie, lecz jeśli nagle je wyrwie, jeśli nas porzuci, to choć dotąd nie zważali-

<sup>1421</sup> *Utracona* — nowy przekład szóstego tomu *W poszukiwaniu straconego czasu* powstał w oparciu o dwa wydania oryginału: (1) *La Fugitive* z trzytomowej edycji Bibliothèque de la Pléiade, pod redakcją P. Claraca i A. Ferré (Gallimard, Paris 1954) oraz (2) *Albertine disparue*, pod redakcją N. Mauriac i E. Wolffa (Grasset, Paris 1987), tekst częściowo poprawiony przez Prousta, opracowany na podstawie oryginału maszynopisu, który w roku 1986 odnaleziono w archiwum bratanicy autora, Suzy Mante-Proust. Obecne wydanie polskie zawiera zarówno fragmenty dopisane, jak i fragmenty skreślone w maszynopisie ze względu na to, że Proust nie redagował tekstu systematycznie ani nigdy nie ukończył tej pracy. Niektóre ustępy zostały przestawione zgodnie ze wskazówkami autora, a wszystkie jego poprawki odnotowano w przypisach. [przypis tłumacza]

<sup>1422</sup> „Panna Albertyna wyjechała.” (...) dłużej niż przez chwilę — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1423</sup> To, co zdawało się nic już dla mnie nie znaczyć, okazało się wszystkim! Jakże niewiele wiemy sami o sobie — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

<sup>1424</sup> Czulem już mgliście (...) złagodziło ból — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1425</sup> bo nawet w tamtej chwili (...) ciśnieniem gwałtownego bólu — fragment skreślony. [przypis tłumacza]



śmy na nią wcale, ściągnie na nas najstraszliwsze męki, jest bowiem równie okrutna jak śmierć.

Najpilniejszą rzeczą było teraz przeczytanie listu, musiałem wiedzieć, jakimi dysponuję środkami, by nakłonić Albertynę do powrotu. Łudziłem się, że wiele jest w mojej mocy, albowiem póki przyszłość istnieje tylko w naszych myślach, wierzymy, że nasza wola nada jej kształt, w ostateczności zaś odwróci nawet bieg zdarzeń. Lecz z drugiej strony przypominałem sobie, że nieraz bywałem świadkiem kształtowania przyszłości przez cudzą wolę, wobec której okazywałem się bezsilny, niezależnie od tego, ile czasu miałbym do dyspozycji. Cóż z tego, że godzina jeszcze nie wybiła, jeśli i tak nie mamy wpływu na to, co przyniesie? Kiedy Albertyna mieszkała w moim domu, postanawiałem, że co do naszego rozstania nie pozwolę sobie odebrać inicjatywy. A jednak to ona odeszła. Otworzyłem jej list, takiej treści:

„Mój drogi, wybaczone, że nie odważyłam się powiedzieć Ci w cztery oczy tych kilku słów, które za chwilę przeczytasz, ale takim jestem tchórzem i tak wielki czuję przed tobą respekt, że zabrakło mi śmiałości, by temu podołać. A oto, co powinnam była Ci powiedzieć: nasze wspólne życie stało się nie do zniesienia. Wiesz dobrze, że po tej kłótni ostatnio przez ciebie rozpetanej coś pękło między nami. To, co udało nam się jeszcze posztukować tamtego wieczoru, rozpadłoby się wkrótce znowu, i byłoby już nie do sklejenia. Rozstańmy się więc właśnie teraz, pogodzeni, i pozostajmy przyjaciółmi. Dlatego, kochany mój, piszę te słowa, i proszę, byś był tak miły i wybaczył mi, jeśli trochę Cię zasmuciłam, bo ja smucić się będę dużo więcej. Mój drogi chłopcze, nie jestem twoim wrogiem, będzie mi bardzo ciężko pogodzić się z tym, że stopniowo, ale już niedługo, stanę Ci się obojętna. Ponieważ moja decyzja jest nieodwołalna, zanim oddam ten list Franciszce, poproszę ją o moje kufry. Żegnaj. To, co we mnie najlepsze, pozostanie przy Tobie. Albertyna”.

To wszystko nic nie znaczy, powiedziałem sobie, wygląda to nawet lepiej, niż mogłem sądzić, bo ona naprawdę wcale tak nie myśli, widać przecież, że napisała to jedynie po to, żeby mną mocno wstrząsnąć, żeby napędzić mi strachu. Trzeba czym prędzej zacząć działać, jeśli dziś wieczór Albertyna ma tu być z powrotem. Przykro pomyśleć, że państwo Bontemps w swej nikczemności skorzystają z tej okazji, by wyciągnąć ode mnie pieniądze. Ale co mnie to obchodzi? Choćbym miał oddać pani Bontemps połowę majątku za niezwłoczny powrót jej siostrzenicy, zostanie dość, byśmy oboje mogli żyć przyjemnie. I już zacząłem myśleć o tym, czy zdążyć przed południem zamówić jacht i rolls-royce'a, rzeczy, o których marzyła; a wszystkie moje wcześniejsze obawy ulotniły się i natychmiast zapomniałem, że dawanie jej takich prezentów uważałem za rzecz nierozsądną. A jeśli już nawet współdziałanie pani Bontemps nic nie pomoże, jeśli Albertyna nie zechce posłuchać ciotki i zgodzi się wrócić tylko pod warunkiem, że odtąd zostawię jej zupełną swobodę, wtedy trudno! Choć z żalem, ustąpię i w tym. Będzie mogła wychodzić sama, kiedy zechce. Czasem trzeba ponosić ofiary, nawet bardzo bolesne, jeśli to, co chcemy osiągnąć, warte jest dla nas jeszcze więcej. Tym czymś była zaś obecność Albertyny, wbrew wnioskowi, do jakich tego ranka doprowadziły mnie moje wnikliwe, lecz oderwane od rzeczywistości rozważania. A zresztą, czy naprawdę cierpiałbym aż tak strasznie, gdybym pozwolił jej zażywać swobody? Upierając się przy tym, mijałbym się z prawdą. Już nieraz przeczuwałem, że gdybym nie bronił jej do woli oddawać się złu za moimi plecami, to ból byłby i tak łatwiejszy do zniesienia niż smutek, w jakim się pogrążyłem, widząc ją znudzoną życiem u mojego boku, w moim własnym domu. Zapewne, gdyby zażądała ode mnie, bym pozwolił jej wyjechać tu albo tam, od razu zacząłbym się domyślać jakichś ukartowanych wcześniej orgii, toteż ofiarować jej wtedy swobodę byłoby dla mnie czymś nie do pomyślenia. Powiedzieć jej: „Weź jacht albo wsiądź do pociągu i wybierz się na miesiąc w strony, których nigdy nie widziałem, by robić tam rzeczy, o których się nie dowiem” — taka myśl czasami wydawała mi się kusząca, bo miałem nadzieję, że gdy z daleka poczyni korzystne dla mnie porównania, w końcu będzie zadowolona, że wraca. Chciałem wierzyć, że i ona właśnie tego pragnie. Że nadmiaru wolności wcale nie potrzebuje. I że potem, przekupując ją coraz to nowymi rozrywkami, bez trudu zdołam przywrócić pewne ograniczenia. Albertynie naprawdę zależało na czym innym, na tym — bym przestał być wobec niej nieznośny, a przede wszystkim właśnie na tym, czego kiedyś Odeta oczekiwała od Swanna — żeby się z nią wreszcie ożenić. Po ślubie od razu przestanie tęsknić za

niezależnością! Będziemy żyli tu we dwoje, jak dotąd, i będziemy szczęśliwi. Co prawda, musiałbym wtedy porzucić myśl o Wenecji. Lecz jakże blade, obojętne i martwe staje się to, co było najbardziej upragnione — upragnione nawet bardziej niż Wenecja, jak kiedyś znajomość z księżną de Guermantes albo teatr — gdy serce przykute jest do innego serca raniącym boleśnie łańcuchem, który nie pozwala nam się oddalić ani na krok. Jeśli zaś chodzi o kwestię ślubu, to Albertyna ma całkowitą słuszość. Nawet w oczach mamy ta zwłoka była rzeczą niezrozumiałą i niepoważną. Ożenić się z Albertyną, oto, co należało zrobić już dawno i co uczynię teraz bez ociągania, bo po to przecież pisała list, sama nie wierząc w ani jedno jego słowo. By osiągnąć swój cel, musiała na kilka godzin odmówić sobie tego, czego z pewnością pragnęła równie gorąco, jak ja: powrotu. Tak, oto jej właśnie chodziło, taki to zamysł kryły w sobie jej czyny, miłosiernie podszeptował mi rozum. Ale czułem, że praca mojego umysłu utknęła w martwym punkcie, zablokowana przyjętym na wstępie założeniem. I przeczuwałem coraz wyraźniej, że możliwe jest jeszcze inne założenie, dotąd nie rozważone. Bez wątpienia nie było sformułowane tak śmiało, by głosić bez ogródek, że coś łączy Albertynę z panną Vinteuil i jej przyjaciółką. Ale to ono pchnęło mnie w odmęty rozpacz w chwili, gdy wchodziłem z Albertyną na stację w Incarville, ono to wydawało się wówczas jedynie prawdziwe. Nawet ono nie prowadziło jednak do szalonego przypuszczenia, że Albertyna może odejść ode mnie z własnej woli, i to w sposób nagły, bez uprzedzenia, nie zostawiając mi czasu, bym jej w tym przeszkodził. I mimo że z owym założeniem zetknąłem się już wcześniej, rzeczywistość, jaka objawiła się teraz, po miłowym kroku, narzuconym mi przez życie, była równie zaskakująca jak odkrycie fizyka, jak wynik dochodzeń sędziego śledczego, jak odsłonięte przez historyka podłoże przewrotu albo zbrodni. Rzeczywistość posunęła się dalej niż niepewne przewidywania oparte na owym drugim założeniu, i w ten sposób je potwierdziła. Nie miało ono żadnego logicznego uzasadnienia, toteż atak panicznego lęku, który przeżyłem owego wieczoru, kiedy Albertyna nie chciała mnie pocałować, albo tamtej nocy, kiedy usłyszałem łoskot otwieranego okna, przychodził spoza królestwa rozumu. Choć dalsze zdarzenia potwierdzą to, na co wskazuje już wiele z dotychczasowych obserwacji — że rozum jest narzędziem nieszczególnie subtelnym, niezbyt poręcznym i nie nadaje się do chwytania prawdy — to jedynie dodatkowy powód, by na początek oddać głos rozumowi, a nie intuicji, podświadomości i przeczuciom. Samo życie poucza nas raz za razem, krok po kroku, że tego, co najważniejsze dla serca i ducha, nie dowiemy się za sprawą rozumu, lecz dzięki innym zmysłom. Rozum, świadomy ich wyższości, gotów jest z wyrachowania oddać im władzę, godząc się być pomocnikiem i sługą. Wiara płynąca z doświadczenia... Nieprzewidziana katastrofa, z którą musiałem się zmierzyć, tak samo jak fakt zażyłości między Albertyną i dwiema czcicielkami Safony, miała w sobie coś znajomego; zapowiadała ją wcześniej wiele znaków, z których (wbrew przekonaniom, jakie rozum powziął na podstawie słów samej Albertyny) wyczytać mogłem prawdę o znużeniu i żywiołowej niechęci, jaką budziło w niej miejsce uwięzienia. Ileż razy natykałem się na te znaki, zapisane niewidocznym atramentem w głębi pokornych i smutnych źrenic Albertyny, na jej policzkach oblewających się nagłym, niewyjaśnionym rumieńcem, w trząśnięciu otwartego z impetem okna. Zabrakło mi odwagi, by przyjąć bez reszty ich przesłanie i wziąć w rachubę ten nagły wyjazd. Utrzymywany w równowadze ducha dzięki obecności Albertyny, mogłem sobie wyobrazić jej odejście jedynie jako rzecz postanowioną przeze mnie samego, kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, to znaczy w czasie, który nie miał nigdy nadejść. Uległem zatem złudzeniu, że potrafię wyobrazić sobie ten wyjazd, tak jak ludzie, którzy wierzą, że wcale nie boją się śmierci, póki myślą o niej, mając się nieźle: próbują tylko dopisać jej ujemną wartość do wartości zdrowia, którym się wciąż jeszcze cieszą, nie pamiętając, że w miarę zbliżania się śmierci będą musieli i z nim się pożegnać. Zresztą, choćbym nawet i tysiąc razy wyobrażał sobie wyjazd Albertyny jako akt jej własnej woli, choćbym odmalował go sobie najdokładniej i najwyraźniej, to i tak nie zdołałbym przewidzieć, czym się ten wyjazd okaże dla mnie samego, a więc czym będzie naprawdę, jak niesłychanym, zaskakującym, straszliwym zdarzeniem, jak całkowicie nową udręką. Choćbym zawczasu myślał o nim przez całe lata, wszystkie te myśli nie dałyby mi nawet bladego pojęcia o piekle, którego wrota uchylili przede mną Franciszka, wypowiadając te słowa: „Panna Albertyna wyjechała”. By stworzyć sobie obraz jakiejś nieznannej sytuacji, umysł wypełnia ją szablonami rzeczy znajomych, i właśnie dlatego

żadne wyobrażenia nie przybliżają nas do prawdy. Ale każde nowe zdarzenie, trafiając z mocą pioruna w naszą wrażliwość, także tę najbardziej zmysłową, na zawsze zostawia wyżłobioną koleinę, odcisnięty znak. Wahalem się przyznać sam przed sobą, że choćbym zdołał przewidzieć ten wyjazd, to i tak nie wyobraziłbym go sobie w całej jego grozie. Że gdybym nawet został o nim przez Albertynę uprzedzony, nie zdołałbym jej zatrzymać prośbą ani groźbą. Jakże odległe było w tamtej chwili marzenie o Wenecji! Jak kiedyś w Combray marzenia o znajomości z księżną de Guermantes, oddalające się z nadejściem pory, kiedy nie liczyło się dla mnie nic oprócz jednej rzeczy — żeby mama była przy mnie w moim pokoju. Oto wszystkie niepokoje, jakie kiedykolwiek przeżyłem w dzieciństwie i później, powracały przyzywane przez nową trwogę, by przelać się w nią i powiększyć ciężar, który mnie przygniatał. Tak, ten cios w samo serce — rozstanie bez pożegnań — za sprawą niewyobrażalnej łatwości, z jaką ciało pamięta ciosy, przywołuje ból każdej chwili naszego życia, w której cierpieliśmy. Cios w serce, zadany przez tę, która pragnie uczynić nasz żal jak najgłębszym, po części może i z wyrachowania, bo tak bezgraniczna jest w innych obojętność na nasz ból — ten cios spadł na nas może dlatego jedynie, że pozorując rozstanie, spodziewała się wymusić korzystne warunki powrotu; a może chciała, odchodząc na zawsze (na zawsze!), zranić, czy to przez zemstę, czy też po to, żeby przedłużyć trwanie mojej miłości. A może, by dodać mocy wspomnieniu, jakie po sobie zostawi, postanowiła rozerwać tę coraz grubszą pajęczynę znużenia i obojętności, której istnienie wyczuwała od dawna — otóż takiego ciosu w samo serce oboje zamierzaliśmy sobie oszczędzić, wierzyliśmy, że rozstaniemy się w zgodzie. Tylko że przyjazne rozstania nie zdarzają się prawie nigdy, bo póki panuje zgoda, nie myśli się o rozstaniu. Poza tym kobieta, nawet gdy okazujemy jej najgłębszą obojętność, mimo to jakoś wyczuwa się naszego przyzwyczajenia, które wtrąciło nas w nudę, lecz jednocześnie usidliło nas, zacieśniając pęta. Także dla niej istotnym warunkiem zgodnego rozstania jest zapowiedzieć je zawczasu. Lecz boi się, że zapowiedź utrudni sprawę. Każda kobieta wie, że w miarę jak wzrasta jej władza nad mężczyzną, ucieczka staje się jedynym możliwym sposobem odejścia. Władczyni-uciekinierka: historia zna takie przypadki. Rzecz jasna, przepaść rozpościera się między znużeniem, którego on dopiero co doznawał, a gwałtowną żądzą jej odzyskania, ledwie odeszła. Składa się na to wiele okoliczności wspomnianych wcześniej, oraz inne, o których będzie dalej mowa. Przede wszystkim jej wyjazd zazwyczaj następuje właśnie wtedy, kiedy jego obojętność — rzeczywista albo też udawana — osiągnęła najwyższy punkt, odchyłona od stanu równowagi niczym wahadło. Kobieta mówi sobie: „Dość, dłużej tak być nie może”, właśnie dlatego, że mężczyzna wciąż powtarza, że pragnie rozstania, albo bez przerwy o tym myśli. A jednak to ona go opuszcza. Wtedy wahadło zmienia kierunek i nim znów osiągnie najwyższy punkt, musi przemierzyć przepaść. Trwa to jedną chwilę i znów się wszystko powtarza, poza zasięgiem rozumu, z mocy natury! Serce wali jak młotem, tymczasem kobieta, która odeszła, jest już kimś innym, niż kiedy mieliśmy ją przy sobie. Jej życie u naszego boku, znane aż nadto dobrze, wplątało się nagle między obce losy i mieni się ich barwami. Być może właśnie po to, żeby się w nich zanurzyć, rozstała się z nami, a odbłask nieoczekiwanego bogactwa tej, która jest już daleko, pada wstecz, na żyjącą w naszym cieniu istotę, która myślała w skrytości o wyjeździe. Serii faktów wewnętrznych, dających się z tych zewnętrznych wydedukować, i składających się wraz z nimi na obraz jej życia przy nas, gdy oprócz naszej nazbyt widocznej obojętności znosić musiała także zazdrość (mężczyźni, którzy przeżyli wiele rozstań, byli porzucani za każdym razem w podobny sposób, naznaczony piętnem ich charakteru i niezmienności zachowań, dających się dokładnie przewidzieć; każdy bywa zdradzany na swoją własną modłę, tak jak każdy ma właściwy sobie sposób łapania przeziębień), tej serii, która nie kryje przed nami żadnych tajemnic, odpowiada, jak się okazuje, inna seria faktów, o których nie mieliśmy pojęcia. Nasza ukochana musiała od pewnego czasu wymieniać przez posłańców listy albo ustne wiadomości z tym lub tamtym mężczyzną, z tą lub tamtą kobietą, — i być może czekała na sygnał, który bezwiednie przekazaliśmy jej sami, mówiąc: „Pan X. był wczoraj u mnie”, podczas gdy ona umawiała się z panem X., że odwiedzi mnie poprzedniego dnia przed planowaną przez nich wspólną ucieczką. Ileż możliwych przypuszczeń! Możliwych, nic więcej. Umiałem po mistrzowsku wznosić gmachy prawdy, lecz tylko z niepewnych przypuszczeń. Zdarzyło mi się kiedyś przez pomyłkę otworzyć list do kobiety, z którą byłem związany, list najwyraźniej pisany szyfrem

i brzmiący tak oto: „Nadal czekam znak jechać do margrabiego de Saint-Loup, uprzedzić jutro telefon”; wysnułem stąd podejrzenie, że zaplanowała ucieczkę. Widać było, że nazwisko margrabiego de Saint-Loup podstawiono zamiast innego, bo moja przyjaciółka nie była wcale jego znajomą, słyszała o nim tylko z moich ust. Nawet podpis robił wrażenie pseudonimu, obcego duchowi języka. Otóż w rzeczywistości list nie był adresowany do mojej przyjaciółki, nazwisko należało do pewnej kobiety mieszkającej w tym samym domu, lecz zostało źle odczytane. Nie był też napisany szyfrem, tylko kiepską francuszczyzną, bo przysłała go pewna Amerykanka, jak się potem dowiedziałem od Roberta de Saint-Loup, rzeczywiście jego znajoma. I niespotykany sposób pisania przez tę Amerykankę niektórych liter nadał obco brzmiącemu, lecz jej najprawdziwшему nazwisku postać pseudonimu. Myliłem się więc we wszystkim. Ale machina umysłu, która powiązała w całość dostępne fakty, z gruntu fałszywe, nadała wnioskowi kształt prawdy tak doskonale trafiającej w sedno, że kiedy po trzech miesiącach nagle mnie opuściła owa kochanka (która w chwili nadejścia listu zamierzała być ze mną aż po grób), wszystko odbyło się dokładnie tak samo, jak w wyobrażeniu, które stworzyłem sobie za pierwszym razem. Pojawił się zatem drugi list, noszący te same cechy, które błędnie przypisałem pierwszemu, lecz tym razem naprawdę kryjący zaszyfrowaną wiadomość, i tak dalej.

Spadło na mnie największe nieszczęście mojego życia. Lecz udręka, którą mi przyniosło, mimo wszystko ustępowała pasji dociekania, za kim Albertyna tęskniła, do kogo odeszła. Tymczasem przyczyny tych najważniejszych wydarzeń są niczym miejsca, z których rzeka wypływa: choćbyśmy szukali po całym świecie, nie znajdziemy jedyne źródła. Od jak dawna Albertyna przygotowywała ucieczkę? Nie wspominałem o tym (bo dotychczas myślałem, że to tylko zły humor, dąsy, w języku Franciszki zwane „muchami w nosie”), lecz od czasu, kiedy przestała całować mnie na dobranoc, była posępna jak chmura gradowa, trzymała się sztywno, ruchy miała powolne i ciężkie, o najzwyczajniejszych sprawach mówiła głuchym głosem i całkiem przestała się uśmiechać. Nie mogę twierdzić, że cokolwiek świadczyło o utrzymywaniu przez nią jakichś kontaktów poza domem. Wkrótce po jej wyjeździe dowiedziałem się od Franciszki, że wszedłszy na dwa dni przedtem do pokoju Albertyny, nie zastała tam nikogo, story były zaciągnięte, ale powiew powietrza i hałas uliczny wskazywały na to, że okno balkonowe jest otwarte. I w rzeczy samej, Albertyna była na balkonie. Ale nie wiadomo, z kim miałyby się tam porozumiewać; z drugiej zaś strony, zaciągnięte przy otwartym oknie story nietrudno było wyjaśnić moją wrażliwością na przeciągi, a jeśli to nawet niewiele pomagało, przynajmniej Franciszka nie mogła od razu zauważyć z korytarza, że okiennice są już otwarte mimo wczesnej pory. Nie, o niczym takim nie wiedziałem, jeśli pominąć pewien drobiazg wskazujący na to, że już w przeddzień powzięła zamiar wyjazdu. Z mojego pokoju zabrała niepostrzeżenie większą ilość papieru pakowego, po czym nocą pakowała swoje niezliczone peniuary i szlafroczyki, aby wyruszyć z rana. Tylko ten drobiazg, nic więcej. Nie przywiązywałem wagi do tego, że wieczorem uparła się zwrócić mi tysiąc franków, które była mi winna, nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego, bo w sprawach pieniężnych odznaczała się najdalej posuniętą skrupulatnością.

W przeddzień zabrała więc papier pakowy, ale przecież już wcześniej musiała wiedzieć, że wyjedzie! Nie smutek bowiem popchnął ją w drogę, tylko odwrotnie, powzięta decyzja wyjazdu, porzucenia tego życia, które kiedyś było szczytem jej marzeń, zasnęła jej spojrzeń smutkiem. Była poważna i wobec mnie pełna uroczystego niemal chłodu, oprócz ostatniego wieczoru, kiedy pozostała w moim pokoju jak długo chciałem — zawsze zaskakiwała mnie w niej gotowość do spełniania życzeń — a potem powiedziała w progę: „Żegnaj, mój mały, żegnaj”. Ale wtedy mnie to nie zaniepokoiło. Zdaniem Franciszki Albertyna nazajutrz rano, gdy jej mówiła o swoim wyjeździe, była jeszcze o wiele smutniejsza, jeszcze bardziej zgaszona niż w ciągu minionych dni, i mogło się wydawać, że przy słowach „Żegnaj, Franciszko”, osunie się na podłogę. Choć można to łatwo wytłumaczyć zmęczeniem, skoro nie położyła się wcale, tylko przez całą noc się pakowała, mimo że kufrów nie miała w pokoju i musiała o nie potem poprosić Franciszkę. Kiedy dowiadujemy się o tego rodzaju sprawach, zaczynamy rozumieć, że kobieta, która ostatnio już podobiała nam się o wiele mniej od innych, przypadkowo spotkanych na pierwszej lepszej przechadzce, że ta kobieta, dla której z żalem musieliśmy się wszystkich innych wyrzec, jest nam tysiąc razy bliższa od każdej z nich. W takiej chwili nie jest już ważne,

czy rozkosze nazbyt wyblakłe od zużycia, albo też mdłe z powodu pospolitości obiektu, ustąpią miejsca nowym rozkoszom, od tamtych wspanialszym i bardziej kuszącym, jedne i drugie muszą bowiem zmierzyć się z czymś, co je przerasta, ze współczuciem wobec cierpienia.

Obiecując sam sobie, że Albertyna będzie tu z powrotem dziś wieczór, zwróciłem się ku nagłym sprawom i nową nadzieją wypełniłem pustkę pozostałą po istocie, z którą do dziś żyłem pod jednym dachem. Lecz mimo skwapliwości, z jaką odezwał się we mnie zmysł przetrwania, po słowach Franciszki nastąpiła chwila, podczas której naprawdę grunt usunął mi się spod nóg, byłem pozbawiony jakiegokolwiek oparcia, i choć teraz wiedziałem już o tym, że Albertyna będzie tu znowu dziś wieczorem, raz po raz kąsał mnie ten sam pierwszy ból, który zdążył mnie być dopaść, zanim o jej powrocie dowiedziałem się sam od siebie (ból tej sekundy, która nastąpiła po słowach: „Panna Albertyna kazała sobie przynieść kufry, panna Albertyna wyjechała”). Ten ból wciąż odradzał się we mnie samorzutnie, równie gwałtowny jak za pierwszym razem, zupełnie jakbym nic jeszcze nie wiedział o rychłym powrocie Albertyny. Miała wrócić koniecznie, ale z własnej woli. Jakkolwiek przedstawiały się sprawy, gotowość do ustępstw i błagalne starania o jej powrót mogłyby tylko zaszkodzić. To prawda, nie byłem dość silny, by się jej wyrzec, tak jak niegdyś wyrzekłem się Gilberty. Jeszcze pilniej od widoku Albertyny, mój organizm domagał się uśmierzenia fizycznego bólu, którego serce, słabsze niż wtedy, mogło już nie wytrzymać. Poza tym przyzwyczailem się unikać wysiłku woli, zarówno gdy chodziło o zamierzone prace, jak we wszelkich innych sprawach, a przez to stałem się bardziej niż kiedyś gnuśny. Lecz przede wszystkim sam ból był teraz nieporównanie silniejszy z wielu różnych przyczyn, wśród których od tej, że nigdy nie zaznałem rozkoszy zmysłowej ani z panią de Guermantes ani z Gilbertą, ważniejsza była inna — iż nie mogłem ich widywać codziennie, o każdej porze, nie mając po temu sposobności, a zatem i nie odczuwając potrzeby; dlatego w historiach tamtych miłości przytłaczająca potęga bogini Przyzwyczajenia nie odegrała prawie żadnej roli. Moje serce, które było teraz bezwolne i słabe, nie zgadzało się cierpieć. Widziało jedno jedyne rozwiązanie możliwe do przyjęcia: powrót Albertyny, wymuszony na niej bez względu na koszty. To drugie wyjście (by wyrzec jej się na zawsze, stopniowo o niej zapomnieć) serce moje uznało za pomysł nazbyt literacki, za coś, co w prawdziwym życiu się nie zdarza — jak gdybym ja sam nie postąpił kiedyś w ten właśnie sposób wobec Gilberty. Wiedziałem, że owo drugie wyjście znów stoi otworem, zwłaszcza dla tego samego człowieka, bo przecież niewiele się od tamtej pory zmieniłem. Tyle tylko, że czas zrobił swoje, czas, który z jednej strony przysporzył mi lat, z drugiej przyniósł w darze nieustającą obecność Albertyny pod wspólnym dachem. I choć teraz już nie potrafiłem się jej wyrzec, po dawnej miłości do Gilberty i udrękach wycierpianych z jej powodu pozostało we mnie poczucie dumy, które wzbraniało mi poniżania się przed Albertyną żalonym błaganiem jej o powrót; wolałem tak wszystko urządzić, iżby nie mogła poznać, że mi na niej aż tak zależało. Już miałem zerwać się z łóżka, by nie tracić czasu, ale powstrzymał mnie dotkliwy ból: oto wstawałem po raz pierwszy, odkąd mnie opuściła. Wszelako musiałem ubrać się niezwłocznie, by zaraz udać się do stróża w domu Albertyny i rozpytać, czy coś wie.

Cierpienie, będąc przedłużeniem doznanego wstrząsu, szuka nowej formy. Mamy nadzieję, że da się je odpędzić snuciem planów, zbieraniem informacji. Chcemy, by poddało się swoim powolnym przemianom, bo to nie wymaga od nas tyle odwagi, ile trzeba jej mieć, żeby zwalczyć je w zarodku. Jakże ciasne, twarde i zimne okazuje się łóżko, do którego kładziemy się razem z naszym bólem. Wstałem wreszcie. Stąpałem po pokoju z najwyższą ostrożnością, poruszałem się tak, by nie zawadzić wzrokiem o krzesło Albertyny, o pianolę, na której pedałach opierała zlociste laczki, o żaden z przedmiotów, których używała, bo wszystkie nawoływały mnie w tym szczególnym języku, zapożyczonym od wspomnień, jakby chciały przekazać mi jeszcze raz, po swojemu, nową wersję wiadomości o jej wyjeździe. Ale nie patrząc, i tak je widziałem. Opadłem bez sił na jeden z tych foteli obitych błękitnym atlasem, którego chłodny połysk zaledwie przed godziną, w światłocieniu sypialni przeciętej gaszącym niepokojem promieniem dziennego światła, skłaniał mnie do marzeń, tak wówczas rozkosznych, a teraz tak odległych. Ach! Kiedy ostatnio w nim siadałem, Albertyna jeszcze tu była. Nie mogłem usiedzieć, wstałem więc. I tak oto co chwilę zjawiało się jedno z tych niezliczonych, pokornych ja, które składają

się na to, czym jesteśmy, i które nie słyszały jeszcze o wyjeździe Albertyny, więc należało je o nim powiadomić. Trzeba było — co bardziej nawet okrutne, niż gdybym miał do czynienia z osobami postronnymi, niewrażliwymi na mój ból — powiadomić je wszystkie po kolei o nieszczęściu, które na nie spadło, powiedzieć o nim z osobna każdemu ja, które nic jeszcze nie wiedziało. I po kolei każde z nich usłyszeć miało po raz pierwszy te słowa: „Albertyna kazała przynieść kufry” — te same kufry podobne do trumien, które zobaczyłem kiedyś w Balbec, gdy je zabierano razem z kuframi mojej matki — „Albertyna wyjechała”. Każda z tych istot musiała teraz dowiedzieć się o moim smutku. O smutku, który bynajmniej nie był tylko pesymistyczną konkluzją, wyciągniętą przez swobodny umysł z nagromadzenia fatalnych okoliczności, ale nieustającym i niezależnym od mojej woli odnawianiem się wstrząsu, wywołanego ciosem zadany z zewnątrz. W tłumie różnych ja pojawiły się i takie, z którymi już dość dawno się nie widziałem. Na przykład ja, którym stawałem się, kiedy miałem być strzyżony — albowiem był to właśnie, o czym zupełnie zapomniałem, dzień wizyty u fryzjera. Zapomniane ja swoim przybyciem przyprawiło mnie o szloch, jaki może nam się wyrwać na pogrzebie na widok sędziwego lokaja, posługującego kiedyś w domu tej, która właśnie odeszła. Potem uświadomiłem sobie zniechęca, że od jakichś ośmiu dni nękały mnie nagłe ataki panicznego lęku, o których nie chciałem nic wiedzieć. Stawiałem im opór, mówiąc sobie: „Po co w ogóle zajmować się przypuszczeniem, że ona może ni stąd, ni zowąd wyjechać? To bzdura”. Gdybym się zwierzył osobie rozsądnej i inteligentnej (co byłbym chętnie uczynił dla odzyskania spokoju, ale moja zazdrosna natura nie lubiła zwierzeń), odpowiedziano by mi najpewniej: „Oszalałeś chyba. To niemożliwe”. I w samej rzeczy, wczoraj nie wybuchła przecież żadna sprzeczka. „Nikt nie odchodzi bez powodu. Wykrzyczałaby ci ten powód. Wtedy i ty mógłbyś coś powiedzieć. Nie, nie zdarzają się niespodziewane wyjazdy. To niepoważny pomysł. Wybrałeś najbardziej absurdalne przypuszczenie spośród wszystkich możliwych”. A jednak co rano, kiedy sięgałem po dzwonek i stwierdzałem, że ona jest w domu, wyrывało mi się głębokie westchnienie ulgi. I gdy tylko Franciszka przyniosła mi list Albertyny, od razu wiedziałem, że stało się właśnie to, co stać się nie mogło, że ten w jakiś sposób przeczuwany na wiele dni naprzód wyjazd jednak nastąpił, wbrew logice i wszelkim uspokajającym argumentom. W głębi swojej rozpaczycy przeczułem to, niemalże uradowany własną intuicją, niby zbrodniarz, przekonany, że go nie złapią, lecz jednak trochę niespokojny — gdy nagle zobaczy teczkę akt opatrzonych nazwiskiem ofiary na biurku sędziego śledczego, który go wezwał.

Cała moja nadzieja była w tym, że Albertyna wyjechała do Turenii, do ciotki, pod której czujnym okiem nie zdąży się na dobre rozszaleć, nim ją stamtąd zabiorę. Obawiałem się raczej czego innego: że mogła pozostać w Paryżu, udać się do Amsterdamu albo do Montjouvain, krótko mówiąc, rzucić się w jakąś uknutą wcześniej intrygę, której zawiązanie przeoczyłem. Lecz myśląc o Paryżu, Amsterdamie, Montjouvain, Balbec i Trieście<sup>1426</sup>, jednym słowem, o miastach najróżniejszych, miałem wciąż do czynienia z takimi, które były zaledwie prawdopodobne. Gdy więc od stróża w domu Albertyny dowiedziałem się, że wyjechała do ciotki, od razu uznałem to miejsce jej pobytu, które przedtem wydawało mi się najmniej niepożądane, za najniebezpieczniejsze, dlatego właśnie, iż rzeczywiste, i udręczony już pewnością co do chwili obecnej oraz niepewnością jutra, zacząłem wyobrażać sobie Albertynę rozpoczynającą wymarzone nowe życie, oderwane od mojego, nie wiadomo na jak długo, być może na zawsze. Życie, w którym miały się ziścić jej nieznanne pragnienia, przejmujące mnie dreszczem obaw już wówczas, gdy było mi dane szczęście posiadania, szczęście obsypywania pieszczotami łagodnego oblicza, choć skrywało tajemnicę, zawsze uległe i zarazem nieprzeniknione.

Przed bramą domu Albertyny spotkałem biednie ubraną dziewczynkę, której wyraziste oczy przyglądały mi się tak przyjaźnie, że zaprosiłem ją do siebie; tak samo postąpiłbym z psem o ufnym spojrzeniu. Poszła ze mną chętnie. W domu połuściłem ją przez chwilę na kolanach, ale ta obecność, przypominająca mi boleśnie o nieobecności Albertyny, wkrótce mnie zmęczyła. Poprosiłem więc, żeby już sobie poszła, wsunąwszy jej przedtem banknot pięćsetfrankowy. Sama myśl, że mogę mieć obok siebie jakąś małą dziewczynkę,

<sup>1426</sup> *Balbec i Trieście* — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

której niewinne towarzystwo wybawiłoby mnie od samotności, powracała jeszcze nie raz, i tylko dzięki niej jakoś znosiłem obawę, że Albertyna nie pojawi się przez jakiś czas.

Moja miłość do Albertyny żywiła się jej tajemnicą. Co do niej samej, istniała dla mnie przede wszystkim jako imię, które niemal zawsze po przebudzeniu pierwsze zjawiało się w moim umyśle, by nie opuścić mnie przez cały dzień. Gdyby myśli rozporządzały moim głosem, usta musiałyby powtarzać jej imię bez końca, i mowa stałaby się uboga, jednostajna, jakbym na podobieństwo postaci z pewnej bajki przemienił się w ptaka, by wykrzykiwać już tylko imię tej, którą kochałem, kiedy byłem człowiekiem. Bywa, że przepowiadamy sobie czyjeś imię, ale czynimy to milcząc, więc to raczej tak, jakbyśmy po raz kolejny zapisywali je w swoim umyśle niby kredą na murze, już zabazgranym od góry do dołu imieniem ukochanej osoby. Wypisujemy je wciąż na nowo w swoich myślach, kiedy jesteśmy szczęśliwi, i czynimy to jeszcze wytrwalej, gdy szczęście nas opuści. Powtarzamy to imię, nie niosące już żadnej treści, której byśmy nie znali, jedynie po to, by zaspokoić palącą potrzebę, która wciąż w nas odżywa — co z czasem okazuje się nader wyczerpujące. O rozkoszy cielesnej nawet nie pomyślałem w tamtej chwili; mój umysł utracił z pola widzenia ciało Albertyny, choć to ono zawróciło mi kiedyś w głowie; zapomniałem o ciele, a gdybym chciał z mego cierpienia wyłowić jego ideę w stanie czystym — albowiem każdą rzecz można sprowadzić do czystej idei — odnalazłbym niepewność, czy Albertyna wyjeżdżała z zamiarem powrotu, albo listę sposobów, by ją do siebie ściągnąć. W naszych obawach związanych z bliską nam kobietą ona sama zajmuje tak niewiele miejsca — czyż nie jest to prawdą znaczącą i symboliczną? Jej osoba okazuje się prawie bez znaczenia, ważny jest tylko przepływ wzruszeń i lęków niegdyś przeżytych z jej powodu, które kojarzymy z nią od tamtej pory siłą nawyku. Dowodzą tego, dobitniej nawet niż znużenie, jakie wywołuje w nas stan szczęścia, nasze własne odruchy; możliwość spotkania jej, podziw, jakim nas darzy lub nie, jej gotowość do spełniania naszych życzeń, wszystkie te okoliczności od razu okazałyby się dla nas nieważne i do tego stopnia obojętne, że w ogóle już niewarte zainteresowania — gdyby chodziło nam tylko o nią samą, gdybyśmy pominęli ów przepływ własnych wzruszeń i lęków (przynajmniej w stosunku do tej właśnie osoby, albowiem przepływ może znów ożyć, zmieniawszy obiekt). Póki kierował się ku niej, wydawało się nam, że to od niej zależy nasze szczęście; gdy tymczasem warunkiem szczęścia było właśnie wygaśnięcie naszego uzależnienia. Nieświadomość, bardziej dalekowzroczna od naszej świadomości, dążyła do pomniejszenia postaci ukochanej, przeciwdziałała jej zapisaniu się w naszej pamięci i sprawiła, że w obliczu straszliwego dramatu, kiedy od tego, czy ujrzymy tę kobietę, od tego, czy jej widok położy kres męce oczekiwania, mogło zależeć nasze życie — w gruncie rzeczy wiedzieliśmy o niej niewiele, dostrzegaliśmy w niej tylko przeciętność i banał. Owo stopniowe sprowadzenie osobowości do rozmiarów minimalnych towarzyszyło w sposób bezpośredni i nieunikniony rozwijającemu się uczuciu, jako czytelny wyraz jego subiektywnej natury.

Stan ducha, w jakim Albertyna wyjeżdżała, mógł przypominać nastroje narodu, którego armia szykuje się do demonstracji siły, by utorować drogę rokowaniom dyplomatów. Nie miała żadnego powodu do ucieczki, ten chyba tylko, że chciała wymusić korzystne warunki powrotu, więcej swobody, więcej kosztownych przyjemności. Jeśli tak było, to z nas dwojga ja właśnie miałbym się o co rozniewać. Ale przedtem musiałbym udźwignąć ciężar oczekiwania na tę chwilę, kiedy ona, straciwszy nadzieję na uzyskanie czegokolwiek, z własnej woli powróci. O ile jednak w kartach czy na wojnie, gdzie liczy się tylko jedno — kto kogo — łatwo jest stawić czoło bluffowi, to w kwestiach miłości i zazdrości, nie mówiąc już o tęsknocie, rzeczy się mają inaczej. Gdybym prowadząc „wojnę pozycyjną” i czekając spokojnie, pozwolił Albertynie przez wiele dni, a może i tygodni żyć z dała ode mnie, zniweczyłbym cel, do którego dążyłem od ponad roku: żeby nie spuszczać z niej oka ani na chwilę. Wszelkie zachowywane dotąd środki ostrożności poszłyby na marne, jeśli dałbym jej czas i pozwolił zdradzać mnie do woli, a gdyby w końcu nawet skapitulowała, to i tak nie mógłbym łatwo zapomnieć, że przez długi czas żyła bez nadzoru i robiła, co chciała, więc tak czy inaczej poniósłbym klęskę, kto wie, czy nie bardziej druzgocącą niż ta obecna.

Jeśli zaś chodzi o sposoby sprowadzenia jej z powrotem, mogły one być tym skuteczniejsze, im bardziej trafne okazałoby się przypuszczenie, że wyjechała po to jedynie,

żeby coś wytargować. W oczach osób, które wątpiły w jej szczerłość — przede wszystkim z pewnością w oczach Franciszki — przypuszczenie takie było jak najtrafniejsze. Lecz skoro już wtedy, kiedy o niczym nie wiedziałem, szukałem tylko przyczyny jej złego humoru i wrogich spojrzeń, mój umysł nie oparł się obawie, że Albertyna powzięła zamiar opuszczenia mnie na zawsze, tym bardziej teraz, kiedy rozstanie stało się faktem, odmawiał przyjęcia do wiadomości, że to był wybieg jedynie. Mój umysł, nie ja.

Im jednak mniej wiarygodnie brzmiało przypuszczenie, że wyjazd był wybiegiem, tym bardziej się do niego przywiązywałem; stawało się coraz mocniejsze, w miarę jak traciło na prawdopodobieństwie. Kto zawisł nad przepaścią i wydaje nam się rzeczą pewną, że Bóg go opuścił, wciąż jeszcze liczy na cud.

Przyznaję, że w całej tej sprawie jak na detektywa zachowałem się w sposób wyjątkowo bezwolny, choć i prawdziwie rozpaczliwy. Ucieczka Albertyny nie przywróciła mi tych umiejętności, które zanikły, gdy w czuwaniu nad nią zdałem się na osoby trzecie. Myślałem więc tylko o jednym: że muszę zlecić komuś poszukiwania. Tym kimś miał być Saint-Loup, który wyraził zgodę. Ledwie przerzuciłem na cudze barki trudy następnych dni, powróciła mi radość życia, i pewien już powodzenia, zacząłem krzątać się po pokoju; z chwili na chwilę dłonie znów miałem suche, jak zawsze, bez śladu owego zimnego potu, od którego zwilgotniały po słowach Franciszki: „Panna Albertyna wyjechała”.

Kiedy zdecydowałem się zamieszkać z Albertyną i byłem nawet gotów rozważać małżeństwo, chodziło mi głównie o to, żeby jej lepiej strzec, żeby znać każdy jej krok i raz na zawsze zapobiec odnowieniu jej związków z panną Vinteuil. Kiedy w Balbec opowiadała mi o tej zażyłości jak o rzeczy najzwyczajniejszej pod słońcem, zdołałem udać, że tak to właśnie przyjmuję — choć była to wiadomość rozdzierająca serce, która pogrzyżyła mnie w rozpacz, jakiej jeszcze nie znałem, wiadomość, której nawet w najczarniejszych przewidywaniach nie mógłbym sobie wyobrazić. (To zadziwiające, że naszą zazdrość, na co dzień szukającą ujścia w fałszywych domysłach wywołanych przez jakąś błażostkę, stać na tak niewiele odwagi, kiedy dotyka prawdy). Miłość, zrodzona głównie z potrzeby powstrzymania Albertyny w jej złych skłonnościach, zawsze już miała nosić ślady tego, co jej dało początek. Nie musiałbym wcale tkwić uwiązany przy Albertynie, gdybym bez tego mógł okiełznać w niej niespokojnego ducha, wrywającego się tu albo tam. Żeby utrzymać go w ryzach, zdawałem się na czujność osób trzecich, które miały jej pilnować; liczyłem na to, że uspokajające sprawozdanie, które usłyszę wieczorem, usmierzy mój niepokój i ocali dobry humor.

Złożyłem samemu sobie obietnicę, że cokolwiek miałbym uczynić, sprawię, by Albertyna tegoż wieczoru znalazła się z powrotem w moim domu; w ten sposób na chwilę stłumiłem cierpienie, które ściągnęła na mnie Franciszka, zawiadamiając o wyjeździe Albertyny (dałem się bowiem zaskoczyć, i przez chwilę wierzyłem, że jej zniknięcie jest nieodwracalne). Ale po krótkiej przerwie powrócił i zawładnął mną, gnany własnym impetem, ten sam ból nie do zniesienia; dosięgnął mnie znów, ponieważ pojawił się wcześniej niż uspokajająca obietnica rychłego powrotu Albertyny, udzieloną samemu sobie, a słów, które go usmierzyły, mój ból nie zapamiętał. Jeśli miałem podjąć jakieś działania, by zmusić ją do powrotu, musiałem udawać, że niewiele mi na tym zależy i że jej wyjazd wcale mnie nie zabolął. Nie dlatego, żebym kiedykolwiek coś na tym wygrał, ale że czyniłem tak zawsze, odkąd pokochałem Albertynę, więc byłem już skazany na trwanie w kłamstwie. Mogłem walczyć o nią z tym większą determinacją, im bardziej obojętny wyraz twarzy zdołałbym przybrać. Wpadłem na pomysł napisania do niej pożegnalnego listu, w którym nazwałbym jej odejście ostatecznym, wysławszy tymczasem Roberta de Saint-Loup, by udając, że działa bez mojej wiedzy, jak najbrutalniejszym naciskiem skłonił panią Bontemps do niezwłocznego odesłania mi Albertyny. Co prawda, pamiętałem list wysłany do Gilberty i znałem niebezpieczeństwo czające się w udawanej obojętności, która w końcu przemieni się w obojętność najszczerzą. Podobne doświadczenia powinny mnie powstrzymać od wysyłania takich listów do Albertyny. Lecz to, co nazywamy doświadczeniem, jest jedynie uświadomieniem sobie jakiejś naszej szczególnej właściwości, która nieuchronnie znów się objawi, i objawi się z tym większą siłą, im więcej światła



rzuciły na nią wcześniejsze przeżycia, tak że samoistnemu odruchowi, któremu ulegliśmy za pierwszym razem, za kolejnym dodadzą sił wspomnienia. Powtórka ludzkiego losu, przed którą tak trudno się uchronić jednostkom (a także narodom, gdy upierają się przy starych błędach i powtarzają je w coraz to bardziej niebezpiecznej formie), bierze się z naśladowania siebie samego.

Wiedziałem, że Saint-Loup jest w Paryżu, więc od razu po niego posłałem. Przybiegł, równie żwawy i energiczny jak niegdyś w Doncières, i zgodził się jechać zaraz do Turenii. Przedstawiłem mu następujący pomysł: wysiadzie w Châtellerault, odszuka dom pani Bontemps i poczeka na wyjście Albertyny, bo mogłaby go rozpoznać.

— Więc ona mnie zna, ta dziewczyna, o której mówimy? — spytał.

Odpowiedziałem, że nie sędzę. Mój plan działania nappełnił mnie poczuciem bezgranicznej radości. Był on jednak w oczywisty sposób sprzeczny z tym, co przedtem zamierzyłem: miałem przecież tak wszystko urządzić, aby nie wyglądało, że gonię za Albertyną. To zaś, co zamierzaliśmy zrobić, musiało nasuwać takie podejrzenia. Ale ten projekt miał nad innymi nieocenioną przewagę: mogłem już sobie powiedzieć, że ktoś przeze mnie wysłany znajdzie się blisko Albertyny i zapewne mi ją przywiezie. Gdybym lepiej umiał czytać we własnym sercu, wiedziałbym od początku, że wybiorę to właśnie rozwiązanie, ukryte dotąd w cieniu i w moich własnych oczach żalosne, odrzucę zaś wszystkie inne, wymagające wytrwałości i silnej woli, której mi zabrakło. Saint-Loup wydawał się trochę zdziwiony, że jakaś młoda osoba mieszkała u mnie przez całą zimę, a on nic o tym nie wiedział, a że wspominał nieraz o dziewczynie z Balbec, i nigdy nie powiedziałem mu: „Ależ ona właśnie tu mieszka”, mógł się poczuć urażony okazanym mu brakiem zaufania. Niewykluczone, że pani Bontemps napomknie o Balbec. Ale zbyt niecierpliwie oczekiwałem jego wyjazdu, a zwłaszcza powrotu, żebym chciał i mógł wziąć pod uwagę wszystkie możliwe skutki tej podróży. Nie obawiałem się, że rozpozna Albertynę, którą uparcie omijał wzrokiem, kiedy zobaczył ją u mojego boku w Doncières. Wszyscy bowiem mówili, że zaokrągliła się i zmieniła nie do poznania.

— Nie masz jakiej fotografii?<sup>1427</sup> — spytał. — Bardzo by się przydała.

Odpowiedziałem, że nie mam, nie chciałem bowiem, żeby rozpoznał ją na tej, którą zrobiłem jeszcze w czasach Balbec, choć wtedy widział Albertynę tylko przez chwilę w wagonie kolejki. Na ostatnim zdjęciu nie była moim zdaniem podobna ani do Albertyny z Balbec, ani do tej dzisiejszej, uznałem zatem, że ani ta podobizna, ani widok żywej osoby nie przypomni mi dziewczyny, którą kiedyś widział. Kiedy szukałem dla niego tej fotografii, łagodnie dotknął mojego czoła, jakby chcąc mnie pocieszyć. Ujęło mnie współczucie, jakie znalazł dla moich cierpień. Wprawdzie dawno już rozstał się z Rachelą, ale to, co wtedy przeszedł, było w nim jeszcze na tyle świeże, iż żywił specjalny rodzaj sympatii czy też litości dla innych, którzy padli ofiarą podobnych przeżyć, niby dla towarzyszy niedoli, dotkniętych tą samą chorobą. Lubił mnie poza tym na tyle, że chciał mi oszczędzić bólu. A wobec tej, która mi go zadała, ogarnęła go mieszanina uczuć podziwu i niechęci. Miał mnie za wcielenie doskonałości, jeśli więc, jego zdaniem, ktokolwiek mógł mnie rzucić na kolana, to tylko istota jeszcze wyższa i doskonalsza. Sądziłem, że fotografia Albertyny przypadnie mu do gustu, choć nie spodziewałem się, że zrobi na nim takie wrażenie jak Helena na starcach trojańskich, więc ciągle szukając, odezwałem się skromnie:

— Och, nie wyobrażaj sobie Bóg wie czego, to niezbyt udane zdjęcie, a i ona nie jest żadną nadzwyczajną piękną, za to jest miła.

— Ależ z pewnością jest piękna — odparł z naiwnym i szczerym entuzjazmem, próbując sobie wyobrazić ową istotę, która wpędziła mnie w tak wielką rozpacz i pomieszenie. — Mam jej to za złe, że cię skrzywdziła, lecz z drugiej strony było do przewidzenia, że ktoś taki jak ty, natura artystyczna w każdym calu, darząca piękno miłością tak szaloną, może cierpieć straszliwie, kiedy pokocha je w żywej kobiecie.

I wtedy znalazłem zdjęcie.

<sup>1427</sup> Nie masz jakiej fotografii — tryb dialogu został przez Prousta wprowadzony w ramach poprawek. [przypis tłumacza]

— Musi być cudowna — ciągnął dalej Robert, nie zwracając uwagi na fotografię, którą mu podsunąłem. Nagle ją dostrzegł, przez chwilę obracał w rękach. Jego twarz przybrała niemądry wyraz bezgranicznego zdumienia.

— To jest ona, ta dziewczyna, w której się kochasz? — zapytał w końcu tonem, w którym powątpiewanie tłumiała obawa, by mnie nie urazić. Powstrzymał się od uwag, zrobił rozsądną minę z domieszką protekcyjnego pobłażania, do jakiego mamy skłonność wobec chorego umysłowo, nawet jeśli dotąd zawsze uważaliśmy go za przyjaciela i człowieka godnego szacunku — póki nie odmienił go obłęd; zaczyna nam mówić o niebiańskiej istocie, która ku niemu zstąpiła, my zaś, zdrowi na umyśle, w miejscu wskazanym nam przez niego palcem widzimy tylko zarys puchowej koldry. Pojąłem, co wprawiło Roberta w osłupienie, takie samo jak to, którego doznałem w swoim czasie na widok jego kochanki, z tą tylko różnicą, że widywałem ją wcześniej, Robert zaś sądził, że nigdy nie spotkał Albertyny. Lecz bez wątpienia przepaść między moim i jego wyobrażeniem o tej samej osobie była równie wielka w obu wypadkach. Minęły dawno czasy, kiedy w Balbec, poprzestając na małym, przyglądałem się Albertynie, a moje wrażenia wzrokowe z początku nader skąpo zasilane były odczuciami smaku, zapachu, dotyku. Potem przeżywałem doznania jeszcze słodsze i bardziej przejmujące, które jednak wymykały mi się i z czasem stawały coraz boleśniejsze. Albertyna tkwiła, niby głaz ukryty pod śniegiem, u podłoża skomplikowanej konstrukcji, przenikającej przestrzenie mego serca. Robert, dla którego kolejne nawarstwienia moich doznań pozostawały niedostrzegalne, widział jedynie tło, którego ja, przeciwnie, nie mogłem zobaczyć, bo ona mi je przesłoniła. Przyczyną zmieszania, w jakie popadł Robert na widok fotografii, nie był więc zachwyty, który kazał starcom trojańskim zawołać na widok przechodzącej Heleny:

Nasz ból niewart jednego jej spojrzenia,

lecz coś zupełnie przeciwnego, co wyrażają słowa: „Jakże to, z powodu kogoś takiego aż tyle gniewu, rozpaczy i szaleństwa!” Warto zauważyć, że taka reakcja na widok osoby, która ściągnęła cierpienia na tego, kogo lubimy, która wywróciła do góry nogami jego życie i niemalże wpędziła do grobu, zdarza się nieporównanie częściej niż zachwyty Trojan, i to właśnie ona jest zjawiskiem powszechnym. Nie tylko dlatego, że miłość jest sprawą tak indywidualną, albo że kiedy sami nie kochamy, to uważamy ją za chorobę łatwą do uniknięcia, i wówczas lubimy wdawać się w pełne rezerwy rozważania na temat cudzego szaleństwa. Miłość osiąga czasem takie nasilenie, że rodzi tylko ból, i wtedy sfera odczuć zmysłowych, ogniskujących się między obliczem kobiety i wzrokiem jej kochanka (ta bańka mydlana wypełniona bólem, który cały się w niej mieści, odcięty od świata) jest już rozdęta wystarczająco, by ów punkt, przykuwający jego wzrok, punkt przemiany szczęścia w cierpienie, znalazł się równie daleko od obrazu postrzeganego przez innych, jak rzeczywiste słońce od miejsca, w którym widzimy je, ulegając złudzeniu za sprawą zjawiska refrakcji. Ponadto jej twarz z wiekiem ulega najróżniejszym niekorzystnym przemianom, które przesłania oczom kochanka nawracający ból i niewygasa czułość. Toteż oblicze widziane kiedyś po raz pierwszy nie przypomina już prawie wcale tego późniejszego, oglądanego pośród powszednich cierpień miłości, od którego równie odległe jest jeszcze inne, znane ludziom obcym i obojętnym. (Co by to było, gdyby zamiast młodej dziewczyny Robert ujrzał na fotografii starzejącą się kobietę?) Możemy doznać podobnego zdziwienia niezależnie od tego, czy było nam dane widzieć w dawnych czasach późniejszą sprawczynię nieszczęść. Zdarza się często, że znamy ją z innej strony, tak jak Odetę znał mój cioteczny dziadek Adolf. Różnice postrzegania wykraczają dalece poza powierzchowność, dotyczą nawet cech charakteru i formatu osobowości. Można się było założyć, że dręczycielkę zakochanego w niej mężczyzny dobrze zna jako osobkę zgodną i przymilną ktoś inny, komu na niej nigdy nie zależało. Tak też było z Odetą, która — bezgranicznie okrutna wobec Swanna — odwiedzała mego ciotecznego dziadka Adolfa jako czarująca „różowa dama”. Zdarza się, że ta sama istota, której wyroków zakochany mężczyzna czeka z drżeniem, usiłując zawczasu je odgadnąć niczym kaprysy groźnego bóstwa, innym, którzy jej nie kochają, wyda się zbyt uległa, zbyt łatwo gotowa na wszystko, czego się od niej chce, tak jak ukochana Roberta de Saint-Loup, która w moich oczach była jedynie tylekroć mi proponowaną „Rachelą kiedy Pan”. Pamiętałem, że kiedy zoba-

czyłem ją po raz pierwszy z Robertem, wprawiła mnie w zdumienie myśl, że i taka kobieta może wpędzić kogoś w udrękę dociekania, co robiła w ten czy inny wieczór, co szepnęła na ucho temu lub tamtemu, dlaczego myślała o zerwaniu. Rozumiałem, że dla Roberta de Saint-Loup przeszłość Albertyny, wyzwalająca paroksyzmy bólu w każdym z włókien mojego biednego serca, które się ku niej rwało spragnione prawdy, musiała być równie pozbawiona znaczenia, jak dla mnie przeszłość Racheli. Przeczuwałem już, że i mnie z czasem zobojętnięją koleje losów Albertyny, że stopniowo wyzwolę się z obecnego stanu ducha, zmierzając tam, gdzie dotarł Robert; nie miałem bowiem złudzeń na temat tego, co mógł myśleć i co pomyślałby każdy człowiek, który nie byłby w niej, jak ja, zakochany. Nie z tego powodu cierpiałem. Zostawmy piękne kobiety mężczyznom bez wyobraźni. Dobrze wiedziałem, że kluczem do tragicznej biografii często bywa portret, genialny, lecz niepodobny, taki jak na przykład portret Odety pędzla Elstira, przedstawiający nie tyle postać kochanki, ile samą naturę miłości, która zniekształca rzeczywistość. Brakowało w nim tylko jednego — tego, co w portretach tak naturalne — by spojrzenie wielkiego malarza było zarazem spojrzeniem kochanka (lecz przecież krążyła nawet plotka, że Elstir był kochankiem Odety). Uderzający brak podobieństwa portretu do osoby może kryć w sobie wyjaśnienie zagadki całego życia człowieka takiego jak Swann, opętanego niezrozumiałą dla innych namiętnością. Ale dopiero gdy kochankiem jest malarz tej klasy co Elstir, następuje objawienie, naszym oczom ukazują się usta, jakich żaden profan nie dostrzegłby u tej kobiety, nieznany nikomu kształt jej nosa, bijące z jej twarzy wewnętrzne światło, dotąd uchodzące uwagi. Portret niesie przesłanie: „To, co kochałem, co było przyczyną moich cierpień i co zawsze miałem pod powiekami, tu oto widzicie”. Kiedyś usiłowałem w swoich wyobrażeniach uzupełnić postać Racheli o wszystko to, w co wyposażył ją Robert, teraz zaś chciałem na próbę odwrócić tę sztuczkę, odjąć od postaci Albertyny upiększenia, jakie dodało moje serce, bym mógł zobaczyć w niej to, co widział Robert, to, co ja sam widziałem w Racheli. Ale cóż z tego? Nawet gdybyśmy mogli ujrzeć różnicę gołym okiem, czy jesteśmy w stanie w nią uwierzyć? Kiedy w Balbec Albertyna czekała pod arkadami Incarville, by wskoczyć do mojego auta, nie tylko nie zdążyła jeszcze utyć, ale wprost przeciwnie, do przesady zażywając sportów, wychudła zanadto. Skóra i kości, w dodatku ujmował jej wdzięku nieładny kapelusz, pod którym można było dostrzec koniuszek pospolitego nosa i nieprzyjemną biel policzków; w tej postaci niewiele z niej mogłem rozpoznać, lecz skoro wskakiwała do mojego auta, docierało do mnie, że to ona, że punktualnie przyszła na umówione spotkanie i że nie wybrała się w tym czasie gdzie indziej; to mi w zupełności wystarczało. To, co kochamy, tak bardzo należy do czasu przeszłego, straconego we dwoje, że nawet nie musimy już postrzegać tej drugiej osoby w całej jej złożoności. Dość nam wiedzieć, że to właśnie ona; idzie nam o jej tożsamość, dla tego, kto kocha, ważniejszą od urody. Może i schudła ponad miarę, może policzki ma zapadnięte, lecz jeśli kiedyś jej kochanek zwykł się pyszczyć przed innymi urodą tej okiełznanej przez siebie istoty, w końcu wystarczy mu cień dawnego profilu, jakiś szczegół, do którego sprowadza się cała jej osobowość, to coś, co w niej trwałego, niezmiennego jak pierwiastek równania; i to już wystarczy, by człowiek rozrywany w wielkim świecie nie mógł rozporządzać ani jednym wolnym wieczorem, ponieważ pochłonięty jest bez reszty głaskaniem włosów ukochanej, póki ona nie zaśnie; nie odstępuje jej ani na krok, nie chcąc zostawić jej samej, lub raczej nie chcąc, by ona go zostawiła, czasem dlatego jedynie, by nie mogła być w tym czasie z kim innym.

— Jesteś pewien — spytał Saint-Loup — że wolno tak po prostu zaproponować tej kobiecie trzydzieści tysięcy franków na komitet wyborczy jej męża? Jest aż tak podła? Jeżeli się nie mylisz, to trzy tysiące powinny w zupełności wystarczyć.

— Proszę cię, żadnych oszczędności, ta sprawa nazbyt leży mi na sercu. Musisz powiedzieć jej to, w czym zresztą jest trochę prawdy: „Mój przyjaciel dostał te trzydzieści tysięcy franków od jednego z krewnych na komitet wyborczy wuja swojej narzeczonej. Podarowano mu te pieniądze z okazji zaręczyn. I poprosił mnie, abym dając je pani, uczynił to w taki sposób, by Albertyna o niczym się nie dowiedziała. Lecz właśnie wtedy Albertyna niespodziewanie go opuściła. Nie wie, co ma zrobić. Jeśli nie ożeni się z Albertyną, będzie zmuszony zwrócić swojemu krewnemu te trzydzieści tysięcy franków. A jeśli ma się z nią ożenić, to konieczne jest, żeby natychmiast wróciła, bo jej przedłużająca się nieobecność może zrobić złe wrażenie”. Sądzisz, że zmyśliłem to na poczekaniu?

— Ależ skąd — odparł Saint-Loup, który miał dobre serce i był dyskretny, a ponadto wiedział z doświadczenia, że prawda bywa często bardziej dziwaczna, niż można się spodziewać. Tym bardziej, że historyjce o trzydziestu tysiącach franków nic nie można było zarzucić. Przeciwnie, tak jak mu powiedziałem, tkwiło w niej ziarno prawdy: coś takiego mogło się bowiem wydarzyć w rzeczywistości, choć się akurat nie wydarzyło; zatem tylko ten jeden drobiazg był w mojej historyjce kłamstwem. Ale przecież kłamaliśmy obaj, jak to zwykle bywa między przyjaciółmi, kiedy jeden z nich szczerze pragnie pomóc drugiemu, zakochanemu nieszczęśliwie. Przyjaciel, który chce być drugiemu podporą, doradcą i pocieszycielem, lituje się nad pogrążonym w rozpacz, sam w rozpacz nie będąc, toteż im lepsze ma intencje, tym więcej musi udawać. Ten drugi zaś wyznaje mu tyle tylko, ile jest nieodzowne, żeby można było przyjść mu z pomocą, ale właśnie dlatego, że potrzebuje pomocy, zechce ukryć całą resztę. Z nich dwóch ten jest w szczęśliwszym położeniu, który bierze na siebie trudy, wyrusza w podróż, podejmuje się misji: to ten, którego cierpienie ominęło. Ja sam wystąpiłem w takiej roli wobec Roberta w Doncières, kiedy rozpaczał po rozstaniu z Rachelą. — A więc będzie, jak chciałeś. Nawet gdyby mieli mi naubliżyć, jakoś to zniosę. Robię to dla ciebie. Trochę mi nieswojo tak bez ogródek proponować pieniądze, ale z drugiej strony, niejedna bogobojna księżna z najlepszego towarzystwa za trzydzieści tysięcy franków chętnie posunęłaby się do gorszych nikczemności niż odesłanie siostrzenicy do Paryża. Zresztą, cała przyjemność po mojej stronie, i to podwójna, bo potrzebując ode mnie przysługi, musiałeś wreszcie pozwolić, bym cię odwiedził. Czy będziemy się częściej widywali, jeśli się ożenię? Chciałbym, żebyś mój dom uważał za swój własny.

Urwał, jakby nagle pomyślał o tym, że teraz, być może, ja także się ożenię i że Albertyna to nie jest odpowiednia znajomość dla jego przyszłej żony. Przypomniałem sobie, co usłyszałem od Cambremerów o jego spodziewanym małżeństwie z córką księcia Gilberta. Tymczasem Robert zajął do rozkładu jazdy pociągów i dowiedział się, że może wyruszyć dopiero wieczorem.

— Czy wynieść łóżko panny Albertyny z gabinetu? — zapytała Franciszka.

— Przeciwnie, ma być posłane — odrzekłem. Miałem nadzieję, że jej powrót nastąpi lada dzień, i nie życzyłem sobie, żeby Franciszka podawała to w wątpliwość. Chciałem, by wyjazd Albertyny miała za rzecz postanowioną w porozumieniu ze mną, z której nie wynika w żadnym razie, że Albertyna już mnie nie kocha. Ale spojrzenie Franciszki wyrażało co najmniej powątpiewanie, jeśli nie zgoła niewiarę. Ona także rozważała swoje hipotezy. Jej nozdrza zwietrzyły zwadę, być może już od dawna coś przeczuwała. Jeśli brakowało jej jeszcze zupełnej pewności, to tylko dlatego, że tak samo jak ja nie dawała zbyt łatwo wiary tym najbardziej upragnionym nowinom.

Saint-Loup wsiadał może właśnie do pociągu, kiedy w przedpokoju wpadłem na Blocha, nie usłyszawszy, jak dzwonił do drzwi; w tej sytuacji zmuszony byłem go przyjąć. Niedawno spotkał mnie z Albertyną (znał ją z Balbec), kiedy akurat była nie w humorze.

— Jadłem obiad z panem Bontemps — rzekł — a że mam pewien wpływ na niego, mówiłem mu, jak mnie to smuci, że jego siostrzenica jest dla ciebie niedobra. Powiedziałem mu, że powinien wstawić się u niej za tobą.

Zakipiałem z wściekłości, bo jego jęklivy ton mógł zniweczyć efekty misji Roberta de Saint-Loup, stawiając mnie wobec Albertyny w sytuacji kogoś, kto śle do niej błagania. Na domiar złego Franciszka kręciła się w przedpokoju i wszystko słyszała. Wygarnąłem Blochowi, co o tym myślę; dodałem, że nigdy go nie prosiłem o podobną przysługę i że w dodatku jest w błędzie. Wtedy do jego ust przykleił się uśmiezek, który nie zniknął już do końca wizyty, choć, jak sądziłem, wyrażał raczej zażenowanie Blocha, że się zachował nie po mojej myśli, niż satysfakcję. Ironizował, niby to zdziwiony, że aż takie gromy na siebie ściągnął. Może zamierzał śmiechem odjąć w moich oczach wszelkie znaczenie własnym niedyskrecjom, albo też, jako niegodziwiec, przyzwyczajony był żyć w oceanie fałszu, leniwie i beztrząsco jak meduza unosząc się na jego falach, a może też po prostu, przynależąc do szczególnego gatunku ludzkiego, do owych „innych”, zawsze niezdolnych wczuć się w nasze położenie, nie był w stanie zrozumieć, ile krzywdy można wyrządzić słowami rzuconymi od niechcenia. Ledwo zdążyłem się go pozbyć, nie znalazłszy sposobu naprawienia szkód, które mi wyrządził, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi i Franciszka przyniosła mi wezwanie do komisarza policji. Rodzice tej dziewczynki, któ-

ra spędziła u mnie godzinę, zamierzali oskarżyć mnie o uwiedzenie nieletniej. W takich chwilach życie nieoczekiwanie ukazuje nam nowy rodzaj piękna, zrodzonego z nawały spadających na nas kłopotów, splątanych niczym wątki muzyczne u Wagnera, i z narastającej świadomości, że przyszłych zdarzeń nie pomieści ten kawałek lusterka, w które chce złowić ich odbicia intelekt; że rozwój wypadków wykracza poza moce rozumu, że uderza w nas nagle, z taką siłą, jakby chciał nas powalić. Nawet pojedyncza komplikacja zmienia charakter w zależności od tego, czy opresja ją potęguje, czy radość pozbawia ją wagi. Ale nieszczęścia zazwyczaj chodzą parami. Emocje zrodzone ze zdarzeń mogą się wytlumić nawzajem, przy czym strach, czego do pewnego stopnia doświadczyłem w drodze na komisariat, stanowić może krótkotrwały, ale skuteczny środek przeciwko rozterkom serca.

W komisariacie zastałem rodziców dziewczynki. Powitali mnie obelgami. Powiedzieli: „My takiego chleba nie jemy”, i chcieli zwrócić mi pięćset franków, których wzbraniałem się od nich wziąć. Komisarz, popisując się niezrównaną swobodą, zapożyczoną z sal sądowych, od sędziów przewodniczących trybunałom, którzy znani są z ciętych replik, brał z każdego mojego zdania po jednym słowie, na którym budował swoją dowcipną i miażdżącą odpowiedź. Przypuszczenie o mojej niewinności zostało odrzucone bez zastanowienia — z możliwych hipotez ta była jedyną, której nikt nie rozważał ani przez chwilę. Niemniej sporządzenie aktu oskarżenia nastęrczyłoby znacznych trudności, uszedłem więc cało, zmyto mi tylko głowę, tym hałaśliwiej, że w obecności rodziców. Lecz kiedy sobie poszli, komisarz, który sam widać lubił małe dziewczynki, zmienił ton i w duchu koleżeńskie reprimendy powiedział mi: „Zalecam więcej ostrożności na drugi raz. Kto to widział, działać na wariata? Było pewne, że pan wpadnie. Zresztą pełno wszędzie dziewczynek ładniejszych od tej małej, i znacznie tańszych. Bez umiaru pan przepłacił”.

Wiedziałem, że ta prawda, którą mógłbym wyjawić, nie pomieści mu się w głowie, więc korzystając z przyzwolenia, oddaliłem się bez słowa. Przez całą drogę powrotną brałem każdego przechodnia za tajniaka, któremu nakazano zbadać, jak się prowadzi. Ale ten wątek, podobnie jak wątek złości na Blocha, niebawem się urwał, pozostawiając całą przestrzeń sprawie wyjazdu Albertyny.

I sprawa Albertyny powróciła, lecz tym razem w tonacji niemalże radosnej, skoro Saint-Loup został już wyprawiony w drogę. Podejmując się rozmowy z panią Bontemps, wziął na siebie ciężar, przytłaczający jeszcze chwilę wcześniej mój skolatany umysł. Gdy wyruszał, podniosła mnie na duchu myśl, że powziąłem właściwą decyzję: „Zrobiłem, co trzeba, i to z całą stanowczością”. I moje cierpienie się rozproszyło. Jak sądziłem, dlatego właśnie, że zacząłem działać; wierzyłem w to święcie, bo nigdy nie wiemy, co skrywa nasze serce. Ale owej pogody ducha nie zawdzięczałem wcale temu, że w swej niepewności mogłem oprzeć się na Robercie. Myliłem się, choć także nie do końca. Najlepszym lekarstwem na rany zadane nam przez nieszczęśliwe zdarzenie (trzy czwarte zdarzeń to właśnie te nieszczęśliwe) jest podjęcie decyzji. Ona bowiem odwraca w sposób nagły bieg naszych myśli, kładzie tamę tym, które ciągną się za minionym zdarzeniem i nie pozwalają mu przebrzmieć, dając miejsce przeciwnemu nurtowi myśli napływających z zewnątrz, zanurzonych w czasie przyszłym. Ich działanie na ogół bywa dobroczynne (i tak też było z myślami, które mnie osaczyły), ponieważ, zwrócone ku przyszłości, przynoszą nadzieję. To właśnie pewność napełniła mnie poczuciem szczęścia, pewność, że misja Roberta de Saint-Loup nie może skończyć się porażką, a wobec tego Albertyna na pewno wróci. Wkrótce to pojąłem. Albowiem nie otrzymawszy nazajutrz wiadomości od Roberta, na nowo pograżyłem się w cierpieniu. Źródłem mojej radości nie była zatem podjęta decyzja ani to, że przerzuciłem ciężar na barki Roberta, bo w takim razie radość trwałaby nadal, ale ta myśl: „Musi się udać”, która przelatywała mi przez głowę, gdy mówiłem: „Będzie, co ma być”. Inna myśl, że może się nie udać, zbudzona ze snu, kiedy wiadomości nie napłynęły w porę, była mi tak niemiła, że w jej obecności ulga zniknęła bez śladu. To tylko nasza nadzieja na szczęśliwy obrót spraw przepelnia nas niczym gaz rozweselający, którego efekt przypisujemy zewnętrznym przyczynom, a który uleci z nas wkrótce, razem z pewnością, że przyszłość spełni nasze pragnienia; wówczas znów opadniemy bezwładnie na samo dno smutku. Niewidoczny fundament mniemań przez cały czas podtrzymuje gmach naszego wewnętrznego świata, który bez niego rozchwiałyby się niebezpiecznie.

One to nadają walor rzeczom albo strącają je w nicość i sprawiają, że gotowi jesteśmy za kimś szaleć, a towarzystwo innej osoby przyprawia nas o senność i nudę. One też pomagają przetrwać smutek, który wydaje się nam nie tak wielki, póki wierzymy, że przyszłość położy mu kres; pomagają nam nawet znieść krańcową rozpacz, kiedy czyjaś upragniona obecność więcej dla nas znaczy od własnego życia.

Stało się wówczas coś, co poraziło moje serce bólem równie ostrym jak tamten, przeżyty w pierwszej minucie, który potem, trzeba to przyznać, zdążył już stępieć. A rzeczą tą było ponowne odczytanie listu Albertyny. Choćbyśmy najbardziej kogoś kochali, po jego utracie nasze cierpienie wydaje się nam znośne, póki przeżywamy je w samotności, bo wtedy nasz umysł nadaje mu swoją własną formę. Staje się zaś nie do wytrzymania, obce i nieobliczalne niczym katastrofa, która nawiedziła rejony naszego serca i zdruzgotała cały świat wewnętrzny, i to nie tyle ze względu na samo odejście tej osoby, ile na okoliczności, w jakich zostaliśmy powiadomieni o tym, że już nie zobaczymy jej więcej. O Albertynie mogłem rozmyślać wśród kojących smutek łez, pogodzony z tym, że dziś wieczór jej tu nie będzie, tak samo jak nie było jej wczoraj. Ale jeszcze raz przeczytać: „Moja decyzja jest nieodwołalna”, to zupełnie co innego, to tak, jakbym zażył niebezpieczne lekarstwo i naraził się na zapaść serca, zagrażając życiu. W przedmiotach, w zdarzeniach świata zewnętrznego, w pożegnalnych listach kryje się niebezpieczeństwo szczególnego rodzaju, niebezpieczeństwo spotęgowania i wynaturzenia bólu zadawanego nam przez innych. Ale ten ból wkrótce ustąpił. Mimo wszystko stawałem na zręczność Roberta, na powodzenie jego misji, i powrót Albertyny wydawał mi się rzeczą tak pewną, że w końcu ogarnęły mnie wątpliwości, czy naprawdę warto było o to zabiegać. Tak czy inaczej, przepełniała mnie radość.

Zamierzałem oprócz samochodu kupić najpiękniejszy jacht, jaki wtedy istniał. Był do sprzedania, ale tak drogi, że nie znajdowano kupca. Gdybym miał ten jacht, i gdyby pływał on choćby tylko przez cztery miesiące w roku, to roczny koszt jego utrzymania i tak przewyższałby sumę dwustu tysięcy franków. W ten sposób musiałbym przekroczyć o około pół miliona franków nasze roczne wydatki. Czy wytrzymałbym to dłużej niż przez siedem, osiem lat? Ale cóż to miało za znaczenie? Gdyby zostało mi pięćdziesiąt tysięcy franków stałego dochodu, mógłbym je zapisać Albertynie i zastrzelić się. Podjąłem taką decyzję. I oto zwróciła ona moją uwagę ku owemu ja, które we mnie żyło. Skoro zaś stałe tkwiło ono po uszy w plątaninie bieżących spraw i całe było jedynie myślą o tych sprawach, ujrawszy z nagle zamiast nich własne oblicze, nie mogło w nim dostrzec nic prócz pustej formy; by wypełnić ją realną treścią, musiało posłużyć się wspomnieniem twarzy z lustra. To ten właśnie łagodny półśmiech, naruszający symetrię wąsów, miał zostać unicestwiony. Gdybym się zabił za pięć lat, przeszkodziłoby mi to w rozmyślaniach o tym wszystkim, co teraz bez reszty wypełniało mój umysł. Odszedłbym z tego świata i nigdy już nie wrócił, moje myśli znieruchomiałoby na zawsze. I moje ja wydało mi się jeszcze bardziej puste, ujrzałem je po prostu jako coś, czego już nie ma. Czyż trudno byłoby dla tej, wokół której w nieustającym napięciu krążyły wszystkie moje myśli, dla tej, którą kochałem, poświęcić inną istotę, o której nie rozmyślałem nigdy: mnie samego? Z tej perspektywy wyobrażenie własnej śmierci, tak samo jak pustka mojego ja, przedstawiało się dość niezwykle i nie miało w sobie nic niemiłego. Nagle jednak ogarnął mnie bezgraniczny smutek: pomyślałem, że nie mogę dysponować odpowiednią sumą pieniędzy z tej przyczyny, że żyją jeszcze moi rodzice, co przypomniło mi od razu o matce. I nie mogłem znieść myśli o bólu, jaki sprawi jej moja śmierć.

Niestety, choć byłem pewny, że kłopoty z policją zostały zażegnane, Franciszka powiadomiła mnie, że przyszedł jakiś mundurowy i wypytywał, czy nie mam czasem zwyczaju sprowadzać do domu bardzo młodych osób — co odzwiertny potwierdził w przekonaniu, że chodzi o Albertynę, po czym, jak się wydaje, wzięto nasz dom pod obserwację. Nie mogłem więc liczyć już na wizytę żadnej dziewczynki, której obecność pocieszyłaby mnie w moim smutku, bo zaraz zjawiłby się policjant, stwarzając kompromitującą sytuację i robiąc ze mnie złoczyńcę. W tej samej chwili uświadomiłem sobie, że zawsze żyjemy marzeniami, nawet o tym nie wiedząc; gdy zrozumiałem, że nigdy już nie będę

mógł wziąć na kolana małej dziewczynki, życie naraz wydało mi się nic niewarte. Poczulem, że zaczynam rozumieć tych ludzi, którzy bez wahania rezygnują z majątku lub oddają życie, podczas gdy większość stawia interesy i lęk przed śmiercią na pierwszym miejscu, jako sprawy, wokół których wszystko się kręci. Kiedy wyobraziłem sobie wizytę policjanta, która okryje mnie hańbą w oczach jakiejś nieznajomej dziewczynki, przyszło mi na myśl, że lepiej od razu się zabić. Albowiem to drugie wydawało mi się boleć nieporównanie mniej niż to pierwsze. Ludzie prawie nigdy nie biorą pod uwagę, że ktoś, kogo chcą przekupić lub komu grożą, może mieć narzeczoną albo po prostu przyjaciela, na którego szacunku bardzo mu zależy, nawet jeśli niewiele wymaga od siebie. W zamęcie, który ogarnął mnie nagle, wyleciało mi z głowy, że Albertyna, będąc pełnoletnią, miała prawo u mnie mieszkać i nawet być moją kochanką, i zaczęło mi się wydawać, że zarzut sprowadzania dziewcząt na złą drogę ciąży nade mną także w jej przypadku. I wtedy poczułem się zapędzony w kozi róg. Sam dobrze wiedziałem, że ten związek nie był niewinny, toteż karę, jaka spotkała mnie za kołysanie nieznajomej dziewczynki, uznałem za przejaw wyższej sprawiedliwości, która niemal zawsze obecna jest w wyrokach sprawiedliwości ludzkiej; toteż żaden z ludzkich wyroków nie jest całkiem zasłużony i żaden nie jest w pełni omyłką; wina, jaką przypisano niewinnemu, pozostaje w równowadze z jego nigdy nie odkrytym występkiem. Obawiając się, że powrót Albertyny ściągnie na mnie hańbiący wyrok, że stanie się ona świadkiem mojego poniżenia i że jej samej wyrządzone zostaną krzywdy, o które potem będzie mnie obwiniała, ze strachu przestałem życzyć sobie jej powrotu. Już chciałem nawet depeszować, by nie przyjeżdżała. W tej samej jednak chwili do szaleństwa zapragnąłem, żeby wróciła, i wszystko inne stało się nieważne. Albowiem ujrawszy w nagłym błysku ową przyszłość, w której zabroniłem jej wracać i żyć bez niej, poczułem, że — na odwrót — gotów jestem wyrzec się wszelkich podróży, wszelkich rozkoszy, a nawet dzieł, które mógłbym stworzyć, byleby Albertyna była przy mnie.<sup>1428</sup>

Ach, jakże inaczej kochałem Albertynę niż kiedyś Gilbertę, choć nieraz próbowałem z owej dawnej miłości wysnuć prognozy na temat tej obecnej! Jak bardzo nie do pomyslenia było dla mnie życie bez Albertyny! Każda czynność, choćby najmniejszej wagi, lecz jeszcze niedawno skąpana w blasku jej uszczęśliwiającej obecności, zmuszała mnie teraz, bym raz po raz, wciąż na nowo i zawsze z tym samym nieznośnym bólem, podejmował naukę życia w rozłące. Później napór najróżniejszych przejawów życia odsunął w cień nową odmianę bólu; w tych dniach, a były to pierwsze dni wiosenne, czekając na efekty spotkania Roberta de Saint-Loup z panią Bontemps, zacząłem znów rozmyślać o Wenecji, o nie znanych mi pięknych kobietach, i chwilami doznawałem pocieszenia. Kiedy tylko zdałem sobie z tego sprawę, wpadłem w popłoch. To ukojenie, którego wtedy doświadczyłem, było pierwszym zwiastunem obecności potężnych sił, które odtąd miały zmagać się we mnie z cierpieniem, z miłością, atakując raz po raz, aż do ostatecznego zwycięstwa. Wszystko to było jeszcze tylko przecuciem, lecz stwarzało przedsmak tego, co w przyszłości czeka mnie jako trwały stan rzeczy, jako życie, w którym nie będę mógł cierpieć przez Albertynę, bo już nie będę jej kochał. I moja miłość, rozpoznawszy wrogą siłę, jedyną potęgę zdolną ją zniszczyć, zadrżała niczym zamknięty w klatce lew, który nagle dostrzegł w kącie pytona i pojął, że nie ma ratunku.

Ani na chwilę nie zapomniałem o Albertynie, i gdy Franciszka wchodziła do pokoju ze słowami: „Listów nie ma”, nigdy nie padały one wystarczająco szybko, by oszczędzić mi udręki. Lecz od czasu do czasu pozwalałem, by prąd innych myśli przepłynął przez mój smutek i wniósł nieco świeżości w gnuśny zastój mojego serca. Jeśli wieczorem zasypiałem bez trudu, to dzięki temu, że wspomnienie Albertyny było jak lekarstwo, które się bierze na sen i którego działanie stopniowo słabnie, co prowadzi z czasem do przebudzenia. Śpiąc, myślałem dalej o Albertynie. Był to sen od niej otrzymany w darze i jej poświęcony, zresztą i tak, podobnie jak na jawie, nie mogłem myśleć o niczym innym. Senność i wspomnienie Albertyny tworzyły gotową do zażycia mieszaninę dwóch substancji, sporządzoną po to, bym mógł usnąć. Po przebudzeniu ból powracał i zamiast słabnąć, nasilał się z każdym dniem. Choć zapomnienie czyniło swą powinność, to zacierając w pamięci

<sup>1428</sup>Niestety, choć byłem pewny (...) Albertyna była przy mnie — akapit poprzednio następował po słowach *Tak czy inaczej, przepelniała mnie radość.* [przypis tłumacza]

postać tej, której zabrakło, jednocześnie czyniło jej urok bardziej nieodpartym, i w taki sposób powiększyło mój początkowy ból o nowe cierpienie. To jeszcze byłbym w stanie znieść. Ale gdy mimo woli zaczynałem nagle myśleć o tym pokoju, w którym stało opuszczone łóżko, o fortepianie, o aucie, wówczas opuszczały mnie wszystkie siły, zamykałem oczy i głowa opadała mi na lewe ramię, jakbym miał zaraz zemdleć. Takież sam ból sprawiało mi skrzypnięcie drzwi, bo to już nie ona je otwierała. Kiedy wydawało mi się, że może przyniesiono telegram od Roberta de Saint-Loup, nie śmiałem nawet zapytać: „Czy przyszedł telegram?” Aż w końcu przyszedł, lecz wynikało z niego, że wszystko jeszcze bardziej się odwlecze: „Te panie wyjechały na trzy dni”.

Jeśli przetrwałem owe cztery dni, które upłynęły już od jej ucieczki, to właśnie dzięki temu, że mogłem sobie powiedzieć: „To tylko kwestia czasu. Przed końcem tygodnia ona znów tu będzie”. Lecz ani mojemu sercu, ani ciału roztropność tej myśli nie przynosiła ulgi. Jedno i drugie musiało czynić dalej to samo: żyć bez niej, wracać do pustego mieszkania, mijając drzwi jej pokoju, wiedząc, że jej tam nie ma (nie śmiałem ich nawet uchylić), wieczorem kłaść się do łóżka bez powiedzenia jej „dobranoc”. Oto okoliczności, które moje serce musiało unieść w całym ich porażającym splocie, zupełnie tak samo, jakbym nie miał już nigdy zobaczyć Albertyny. Lecz skoro już podźwignęło je czterokrotnie, to znaczy, że mogło wytrwać i dłużej. To, co pomogło mi ocaleć — nadzieja na rychły powrót Albertyny — wkrótce mogło okazać się zbyt słabe. Być może niedługo już miałem sobie powiedzieć ze spokojem: „Ona nigdy nie wróci”, i żyć dalej tak samo, jak przez te cztery dni. Niczym ktoś, kto wyleczył się z ran i znów stąpa o własnych siłach, odrzuciwszy kule. Wieczorami, wracając do domu, natykałem się jeszcze wciąż na wspomnienia niezliczonego szeregu podobnych wieczornych powrotów, kiedy witała mnie w progu Albertyna; czułem wtedy, jak dławi mnie pustka samotności. Ale teraz czekało już na mnie wspomnienie wieczoru wczorajszego i przedwczorajszego, i jeszcze dwóch poprzednich, to znaczy czterech wieczorów, jakie upłynęły od dnia wyjazdu Albertyny, kiedy to obywałem się bez niej, a mimo to żyłem; czterech wieczorów, które stanowiły już nowe pasmo wspomnień, króciutkie w porównaniu z tamtym, ale gotowe wydłużać się z każdym dniem.

Nie będę się rozwodził nad listem zawierającym wyznanie miłości, jaki właśnie w tych dniach dostałem od jednej z kuzyneczek pani de Guermantes — od panny uchodzącej za najładniejszą dziewczynę w Paryżu. Ani nad zabiegami, jakie czynił wobec mnie książę de Guermantes w imieniu jej rodziców, gotowych dla szczęścia swego dziecka zapomnieć o dzielącej nas różnicy stanów i przystać na to, co uważali za mezalians. Zdarzenia takie mile łechcą naszą próżność — chyba że kochamy, bo wówczas wzmagają nasz ból. Miałoby się ochotę, lecz delikatność nie pozwala, dać o nich znać tej, która znacznie niżej nas ceni, choć ona i tak nie zmieni swojej o nas opinii, nawet kiedy się dowie, że jest ktoś, kto ma dla nas o tyle więcej uznania. Otóż to wszystko, co wypisywała w swoim liście kuzyneczka pani de Guermantes, mogłoby w Albertynie wzbudzić tylko irytację.

Z chwilą przebudzenia podejmowałem na nowo wątek smętnych myśli, w tym samym miejscu, w którym wieczorem urwał się, gdy zasypiałem. Jakbym wracał do książki odłożonej tylko na chwilę i pozostawał już przy niej aż do wieczora; wszystkie moje zmysły odbierające wrażenia zewnętrzne bądź wewnętrzne nastrojone były na ten sam ton — ton myśli o Albertynie. Gdy tylko zadzwonił dzwonek u drzwi, przelatywało mi przez głowę: „To list od niej, a może i ona we własnej osobie!” W takich chwilach, kiedy miewałem się w miarę dobrze i nie czułem się zanadto obolały, byłem już wolny od zazdrości, od zadawnionych żalów; chętnie zobaczyłbym się z nią jak najprędzej, ucałowałbym ją, a potem żyłbym z nią długo i szczęśliwie. Zadepeszować do niej: „Przyjeżdżaj!”, wydawało mi się rzeczą całkiem prostą, jak gdyby nowy stan ducha odmienił nie tylko moje zamiary, lecz także okoliczności zewnętrzne, każąc im poddać się mojej woli. W przypływach złego humoru odżywały we mnie wszystkie gniewne uczucia i wtedy już nie miałem ochoty jej całować. Sądziłem wówczas, że nigdy nie mógłbym być z nią szczęśliwy; jedyne, czego jeszcze chciałem, to zadawać jej ból i nie pozwolić, by związała się z kim innym. Ale dwie skrajności, w jakie popadałem, prowadziły do tego samego punktu: pragnąłem jej natychmiastowego powrotu. A przecież, jeśliby nawet sprawiła mi swoim powrotem odrobinę krótkotrwałej radości, wiedziałem, że prędzej czy później dadzą o sobie znać stare nieporozumienia. I pojąłem, że poszukiwanie szczęścia w spełnieniu pragnień było



zamysłem równie naiwnym, jak bieg przed siebie w pogoni za uciekającym horyzontem. Im dalej posuwamy się w naszych pragnieniach, tym bardziej cel się nam wymyka. Jeśli więc szczęście, rozumiane choćby jako brak cierpienia, jest w ogóle osiągalne, to nie przez poszukiwanie prawdziwego spełnienia, lecz jedynie dzięki stopniowemu ograniczeniu pragnień, aż całkiem wygasną. Chcemy być jak najbliżej tych, których kochamy, a powinniśmy starać się trzymać od nich z daleka, bo tylko niepamięć uwalnia nas od pożądań. Lecz jestem pewien, że gdyby którykolwiek z pisarzy dał wyraz tej prawdzie w swoim dziele, nie omieszkaby podarować go upragnionej kobiecie, wyznając: „Napisałem to dla ciebie”. W ten sposób opatrzyłby swe dzieło — głoszące samą prawdę — kłamiwą dedykacją, w rzeczywistości bowiem owo pragnienie, by ona miała jego książkę, nie potrwa dłużej niż jego przywiązanie do kamyka, który od niej dostał i o którym zapomni, gdy tylko przestanie ją kochać. Związki łączące nas z innymi istnieją tylko w naszych umysłach. Kiedy zbledną w pamięci, rozluźnią się, bo mimo pozorów, którym ulegamy aż nadto chętnie, pozorów, którymi próbujemy z miłości, przyjaźni, uprzejmości omanąć innych — naszym życiem jest samotność. Człowiek to istota zamknięta w swoim ciele, poznająca innych tylko poprzez siebie, ten zaś, kto twierdzi, że z nim jest inaczej, kłamie. Najbardziej przerażałoby mnie — gdyby istniało — niebezpieczeństwo, że zostanę wyzuty z mej własnej potrzeby bliskości i miłości Albertyny, uwierzyłem bowiem, że uzależnienie od Albertyny jest istotą mojego życia. Sądziłem, że gdyby nazwy miast, przez które przejeżdża pociąg do Turenii, przestały wywoływać we mnie ból i oszołomienie, to utraciłbym część samego siebie (byłby to bowiem znak, że Albertyna stała mi się obojętna). To dobrze — myślałem sobie — że zastanawiam się nieustannie, co też ona robi, co myśli, czego pragnie, na co liczyła, odchodząc, i czy zamierza powrócić, bo dzięki temu utrzymuję w drożności kanał, który uTORowała we mnie miłość, i mogę nadal czuć, jak nurt jej życia przepływa przez otwarte śluzy, jak zasila zbiornik, nie dając mu pogrążyć się w gnuśnym zastoju.

Lecz w miarę jak przedłużało się milczenie Roberta de Saint-Loup, narastał we mnie inny rodzaj napięcia, oczekiwanie depezy albo telefonu, i przesłaniał ten pierwszy, związany z niepokojem o sukces przedsięwzięcia, o to, czy Albertyna do mnie wróci. Wsłuchiwanie się w każdy odgłos, gdy bez wytchnienia oczekiwałem telegramu, stało się już nie do wytrzymania i zaczęło mi się wydawać, że nadejście tego telegramu, jedynej rzeczy, o której byłem jeszcze w stanie myśleć, niezależnie od jego treści z miejsca położyłoby kres mojemu cierpieniu. Dostałem w końcu telegram, w którym Robert donosił, że rozmawiał z panią Bontemps, ale mimo podjętych środków ostrożności, Albertyna niestety go widziała i to pokrzyżowało mu szyki; wówczas wybuchnąłem rozpaczą i furią, bo stało się właśnie to, czego pragnąłem za wszelką cenę uniknąć. Skoro Albertyna dowiedziała się o przyjeździe Roberta, mogła też odgadnąć, że mi na niej zależy, i przez to próba nakłonienia jej do powrotu spełniła na niczym. Groza, jaką budziła we mnie ta myśl, pozostała jedynym śladem mojej zaprzepaszczonej dumy z czasów miłości do Gilberty. Złorzeczyłem Robertowi, a po chwili obiecywałem sobie, że skoro jeden sposób zawiódł, chwycę się drugiego. Jeśli człowiek jest w stanie oddziaływać na świat zewnętrzny, to czemuż nie miałbym dzięki przebiegłości, inteligencji, uczuciu i pieniądзом przewyciężyć tej najstraszniejszej rzeczy — nieobecności Albertyny? Wierzmy, że uda nam się wpłynąć na okoliczności i nagiąć je do swojej woli, wierzmy tym bardziej, że nie widzimy innego wyjścia. Nie bierzemy pod uwagę tego, co zdarza się najczęściej i co może okazać się dla nas tak samo zbawienne: że okoliczności co prawda nie ugną się wobec naszej woli, ale za to ona sama po trochu się odmieni. Sytuacje, którym pragniemy położyć kres, nie mogąc ich dłużej znosić, z czasem nam obojętnieją. Nie zdołaliśmy pokonać przeszkody, choć pragnęliśmy tego ponad wszystko, ale życie pomogło nam ją ominąć, przesłiznąc się obok niej i będąc już coraz dalej, tracimy ją wreszcie z oczu.

Usłyszałem fragmenty *Manon*, które ktoś grał piętro wyżej. Wypłynęły z pamięci znane mi słowa pieśni; odniosłem je do Albertyny i siebie, i przepeliło mnie wzruszenie tak głębokie, że zapłakałem. Była to aria:

Ten zbiegły ptak, co miał się tu za więźnia,  
Powraca w nocy rozpaczliwym lotem  
I bije skrzydłem w okna już zamknięte,

a po niej śmierć Manon:

Powiedz choć słowo, Manon, miłości ma jedyna,  
Dziś dopiero poznałem słodycz twego serca.

Skoro Manon wraca do kawalera des Grieux, wyobraziłem sobie, że jestem dla Albertyny jedyną miłością jej życia. Niestety, było wielce prawdopodobne, że nie mnie ujrzała — by ona pod postacią kawalera des Grieux, słuchając tej samej arii. Gdyby zaś wspomniła o mnie przy tej muzyce, co prawda lepiej napisanej i subtelniejszej, ale przecież podobnej do tego, czego lubiła słuchać, jej wzruszenie przysłoby od razu.

Nie ośmieliłem się więc zaufać pełnej słodyczy myśli, że Albertyna mogłaby nazwać mnie „jedyną swoją miłością”, że mogłaby zrozumieć, jak bardzo się myliła, „mając się za więźnia”. Wiedziałem, że kiedy czytamy powieść, mimo woli nadajemy bohaterce postać tej, którą kochamy. Ale choćby najszczęśliwiej rozwiązała się w końcu intryga, naszej miłości to nie pomoże i kiedy zamkniemy książkę, ukochana osoba, która ukazała nam się na jej kartach — w życiu, tak samo jak przedtem, nie chce nas znać. W porywie wściekłości posłałem Robertowi telegram, żeby wracał natychmiast do Paryża. Dla zachowania pozorów trzeba było przeciwstawić się ośmieszającemu podejrzeniu, że chciałem ukryć swe machinacje i wielkie znaczenie, jakie do nich przywiązywałem.

Tymczasem zaczęły mnie nachodzić podejrzenia, że Albertyna nie jest u ciotki, tylko ukrywa się przede mną na przykład w mieszkaniu na zapleczu cukierni, do której parę dni przed jej zniknięciem wstąpiliśmy na podwieczorek. Poszedłem więc znów na podwieczorek do owej cukierni; schlebując właścicielce zapewnieniami o sympatii, jaką do niej czuję, uprosiłem ją, by uczyniła mi tę łaskę i pokazała swoje mieszkanie. Zechciała to uczynić. Ale trwał w nim remont, więc musiałem poczekać, aż trochę posprzątają, i gdyby Albertyna tam przebywała, czasu miałaby dość, by wycofując się z pokoju do pokoju, w miarę jak wkraczałem do kolejnych pomieszczeń, unikać spotkania. W ostatnim, jak powiedziała mi właścicielka cukierni, spała przygarnięta przez nią chora dziewczynka. Nastawałem mimo to. „Nie, obudzi ją pan”, powiedziała. Lecz w końcu wpuściła mnie i tam, i musnęła ustami czoło małej, nie przerywając jej snu. To nie była Albertyna. Naprzeciwko zauważyłem za kotarą jeszcze jedne drzwi, których mi nie otworzono, bo klucz się zapodział. Ponawiałem prośby, zaproponowałem, że pošlę po ślusarza. Ale nic nie wskórałem i utwierdziłem się w przekonaniu, że Albertyna jest właśnie tam, za tą kotarą.<sup>1429</sup>

Zanim Robert zgodnie z moją wolą powrócił, nadszedł jednak telegram od Albertyny:

„Mój drogi, wysyłasz swojego przyjaciela Saint-Loup do mojej ciotki — cóż to za pomysł. Kochany, jeśli tak bardzo mnie potrzebowałeś, czemu nie zwróciłeś się wprost do mnie? Przyjechałabym z miłą chęcią. Nie rób już więcej tak szalonych głupstw”.

„Przyjechałabym z miłą chęcią!” Skoro tak napisała, to znaczy, że żałowała swojego wyjazdu, że brakowało jej tylko pretekstu, by wrócić. Trzeba mi więc to właśnie zrobić, napisać do niej, że jej potrzebuję. Wówczas ona przyjedzie. Odzyskam ją zatem, moją Albertynę z Balbec (albowiem od chwili wyjazdu znów się nią dla mnie stała; tak też muszła, na którą nie zwracaliśmy uwagi, póki leżała na zwykłym miejscu, na komodzie — zawieruszona albo komuś podarowana — zaczyna przyciągać nasze myśli, i wtedy, za jej sprawą, odżywa w nas wspomnienie rzeńskiego piękna błękitnych fal podobnych do łańcuchów górskich). Nie tylko ona stała się bezcielesnym wyobrażeniem, istotą daleką i upragnioną, lecz także nasze wspólne życie, przeniesione w rejony wyobraźni, uwolniło się od wszystkiego, co było w nim trudne. I mówiłem sobie: „Będziemy tacy szczęśliwi!” Skoro byłem już pewny jej powrotu, nie powinienem postępować tak, jakbym chciał go jeszcze bardziej przyspieszyć. Przeciwnie, należało zatrzeć wrażenie, jakie wywołały starania Roberta de Saint-Loup, od których powinienem się przy okazji odżegnać, zapewniając, że działał na własną rękę, bo zawsze był zwolennikiem tego małżeństwa.

Tymczasem jednak na nowo odczytywałem jej list i czułem się trochę zawiedziony zbyt nikłą w nim obecnością tej, która go pisała. Pismo jest bez wątpienia zwierciadłem naszych myśli, tak samo jak oblicze; i tu, i tam odciskają one swój ślad. Dla nas jednak

<sup>1429</sup> Tymczasem zaczęły mnie nachodzić podejrzenia (...) za tą kotarą — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

ślad czyjejs myśli jest czytelny tylko wtedy, kiedy maluje się na twarzy, otwartej przed naszym wzrokiem niczym kwiat nenufaru. Myśl bowiem odmienia rysy twarzy. Być może główną przyczyną naszych ciągłych miłosnych rozczarowań jest zawsze ten sam rozdźwięk między wielbionym wyobrażeniem a przybywającą na schadzkę osobą z krwi i kości, w której z własnych marzeń odnajdujemy już tak niewiele. A jeśli czegoś więcej się jeszcze od niej domagamy, przychodzi w odpowiedzi list, w którym jej osobowość jest już prawie nieobecna; podobnie w wyrażeniach algebraicznych zaciera się rzeczowość arytmetyki, choć przecież i w niej nic już nie zostało z namacalności owoców lub kwiatów, będących przedmiotem rachunku. A jednak ta sama rzeczywistość, której fragmentami są „miłość” i „ukochana istota”, wyraża się także przez list (choć zastąpienie osoby znakiem zawsze rozczarowuje). List może się nam wydać niewystarczający, ale dopiero w chwili, gdy mamy go już w rękach, a przecież oczekując go, umieraliśmy z niecierpliwości, bo się spóźniał; kiedy zaś nadszedł, uśmierzył niepokój, choć i tak nie mógł nasycić naszych pragnień małymi czarnymi znaczkami, bo zamiast uśmiechów i pocałunków musieliśmy się obejść jedynie słownym ich ekwiwalentem. Wszelako za każdym razem, kiedy wracałem do tego listu, wydawał mi się on zupełnie inny niż przed chwilą. Zwodziły mnie podstępny czarom słowa, których wcześniej nawet nie zauważyłem. A wspomnienie, jakie zostawało mi po ostatniej lekturze, zacierało się, gdy tylko zaczynałem czytać od nowa. Tak przeto widziałem sprawy w coraz to innym świetle, jak gdyby rozjaśniały je na przemian zorze poranne i odbłask lamp z przedpokoju, jakby ciemnym fioletem zasnuwała je zasłona burzowych chmur, albo też padała na nie biała poświata, zgaszona wśród krystalicznych strumieni ulewy.<sup>1430</sup> Napisałem do Albertyny:

„Moja Droga, właśnie miałem do ciebie pisać. Jestem Ci niezmiernie wdzięczny za zapewnienie, że przyjechałabyś do mnie z chęcią, gdybym Cię potrzebował. Dobrze świadczy o Tobie szlachetność i oddanie, z jakim gotowa jesteś zaopiekować się dawnym przyjacielem, toteż mój szacunek dla ciebie wzrósł jeszcze. Nie, nie prosiłem Cię o to i nie poproszę. Ciebie, nieczuła istoto, nie zasmuciliby takie spotkanie, a jeśli nawet, to nie na długo. Lecz dla mnie byłoby ono zbyt ciężkim przeżyciem, choć tak często zarzucałaś mi twardość serca. Los nas rozłączył. Podjęłaś decyzję, którą uznałem za rozsądną, i uczyniłaś to w najważniejszym momencie, z godnym podziwu wyczuciem, bowiem w przeddzień Twojego wyjazdu matka udzieliła swej zgody, bym Cię poprosił o rękę. Powiedziałbym Ci o tym z rana, kiedy podano mi list od niej (dostałem go równocześnie z Twoim!). Być może w takich okolicznościach powstrzymałabyś się od wyjazdu, nie chcąc mnie zranić. I związałybyśmy się na całe życie, i byłibyśmy może — któż to wie? — do końca naszych dni nieszczęśliwi. Jeśli czekała nas taka przyszłość, pochwalony niech będzie Twój rozsądek. Powrót zniweczyłby jego owoce. Skłamałbym, mówiąc, że nie pragnąłem tego ani przez chwilę. Lecz nie mam żadnej w tym zasługi, jeśli zdołałem oprzeć się pokusie. Wiesz dobrze, jak ulotne są moje uczucia i jak łatwo zapominam. Nie powinienem więc użalać się nad sobą. Nieraz mówiłaś mi, że jestem niewolnikiem przyzwyczajęń. Nowe, których zacząłem nabierać po Twoim wyjeździe, nie ugruntowały się jeszcze zbyt mocno. Jak dotąd, silniejsze są te stare, którym ulegałem przy Tobie i którymi zachwiał Twój wyjazd. Lecz one wkrótce wygasną. Dlatego pomyślałem, że póki spotkanie z Tobą nie jest jeszcze tym, czym byłoby na przykład za dwa tygodnie albo i wcześniej, to znaczy... wybac te słowa, kłopotem — poprosiłbym Cię o przyjacielską przysługę, jaką mogłabyś z właściwym sobie wdziękiem oddać temu, kto przez pięć minut uważał się za Twojego narzeczonego. Z Twoją pomocą uporządkowałbym parę drobnych kwestii materialnych, nim ostateczne zapomnienie wszystko pochłonie. W swoim czasie, nie wątpiąc, że uzyskam aprobatę matki, z drugiej zaś strony chcąc, by każde z nas dwojga zażywało swobody — której wyrzekłaś się w sposób nazbyt wielkoduszny, nie mógłbym bowiem korzystać dłużej niż przez parę tygodni wspólnego życia z tego poświęcenia, które zresztą z czasem zbrzydłoby nam obojgu — zacząłem myśleć o urządzeniu naszej egzystencji w sposób zapewniający nam jak najwięcej niezależności (pisząc ci o tym, zaczynam prawie odczuwać ból na samą myśl, że do tego nie doszło, że owa przyszłość zawałiła się w ciągu kilku sekund). Miałem zamiar zacząć od sprawienia Ci jachtu, na którym mogłabyś odbywać morskie podróże, gdy ja, niedość zdrów, oczekiwałbym w porcie. W sprawie jachtu zasię-

<sup>1430</sup>Wszelako za każdym razem (...) strumieni ulewy — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

gałem rady Elstira, wiedząc, jak cenisz jego smak. Do podróży lądowych chciałem dać Ci na Twój wyłączny użytek auto, którym mogłabyś zawsze wybrać się dokąd tylko zechcesz. Jacht jest już prawie gotowy, nazywa się tak, jak wymarzyłaś sobie w Balbec: «Łabędź». I pamiętaj, że ze wszystkich samochodów najwyżej cenisz rollsy, taki właśnie zamówiłem. Ale teraz, kiedyśmy się rozstali na zawsze, nie mam nadziei, że przyjmiesz ode mnie auto i łódź, mnie zaś na nic się one już nie przydadzą. Pomyślałem z początku, że gdybyś zechciała anulować obstalunki poczynione u pośrednika na Twoje nazwisko, oszczędziłabyś mi tych niepotrzebnych nabytków. Ale zarówno w tej, jak i w innych sprawach musielibyśmy się wcześniej porozumieć. Toteż póki istnieje niebezpieczeństwo, że mógłbym na nowo Cię pokochać — a nie będzie ono zagrażało nam zbyt długo — szaleństwem byłoby, z powodu jakiejś żagłówki i auta, rzucać na szalę moje i Twoje szczęście, zważywszy że postanowiłaś poszukać go z dała ode mnie. Wolę więc zostawić sobie rollsa i nawet jacht. A ponieważ nigdy ich nie użyję i najprawdopodobniej jeden na zawsze pozostanie w porcie, na kotwicy, bez żagli, drugi utknie w szopie — każę wypisać na... burcie?... jachtu (mój Boże, boję się użyć niestosownego słowa, żeby nie ściągnąć na siebie twojego oburzenia) strofy Mallarmégo, które tak lubiłaś. Mam na myśli wiersz, który na pewno pamiętasz, zaczynał się od słów: «Dziewiczy, rzeński, piękny dniu dzisiejszy». Niestety, dzisiejszy dzień nie jest ani dziewiczy, ani piękny. Lecz tacy jak ja, którzy wiedzą, że da się go przemienić w znośne jutro, sami bywają trudni do zniesienia. Co do auta, lepiej pasują do niego inne słowa tegoż poety, wiersz, o którym mówiłaś, że go nie rozumiesz:

Z łoskotem w piastach, z rubinami iskier —  
jakże radości miałbym się opierać,  
pędząc przed siebie ognistym pociskiem.

Przestworza królestw zagubionych płoną.  
Złoty blask koła u mego rydwanu  
już zda się w lunach purpurowych konać.

Żegnaj na zawsze, Albertynko, i jeszcze raz dzięki Ci za tę wspólną przejażdżkę w przeddzień naszego rozstania. Zachowam o niej najmiłsze wspomnienie”.

„PS Nie odpowiadam za propozycje, które, jak piszesz, składał Twojej ciotce Saint-Loup, nie wiedziałem nawet, że jest w Turenii. To raczej coś dla Sherlocka Holmesa. Ładne wyrobiłaś sobie o mnie pojęcie”.

Podobnie jak dawniej, kiedy mówiłem do Albertyny: „Nie Kocham cię”, po to żeby mnie tym więcej kochała, „Zapominam o ludziach, których rzadko widuję”, po to żeby widywać ją jak najczęściej, „Postanowiłem się z tobą rozstać”, po to żeby w niej stłumić w zarodku wszelką myśl o rozstaniu — teraz, jedynie dlatego, że nade wszystko pragnąłem jej powrotu, powiedziałem: „Żegnaj na zawsze”; dlatego że chciałem natychmiast ją zobaczyć, powiedziałem: „Spotkanie z Tobą byłoby dla mnie niebezpieczne”; dlatego że życie bez niej wydawało mi się straszniejsze od śmierci, powiedziałem: „Miałaś słusność, we dwoje bylibyśmy nieszczęśliwi”. Ten list pełen kłamstw pisałem po to, by ją przekonać, że mi na niej nie zależy (ostatni okruch dumy w mojej miłości do Albertyny, pozostałość czasów, kiedy kochałem Gilbertę); a także dla przyjemności wypowiedzenia słów, które mnie tylko mogły wzruszyć, nie ją. Lecz pisząc list, powinienem liczyć się z tym, że może on przynieść skutek odwrotny do zamierzonego, to znaczy Albertyna zgodzi się ze mną we wszystkim. I bardzo możliwe, że tak by się stało, była bowiem wystarczająco bystra, by ani przez chwilę nie wątpić, że kłamałem. Nie musiałyby nawet wnikać w intencje, jakie wyłożyłem w swym liście, ani łączyć go z wizytą Roberta de Saint-Loup; sam fakt, że go wysłałem, świadczył o tym, że pragnę jej powrotu, i mógł ją skłonić do pozostawienia mnie własnemu losowi, jak ofiarę złapaną już na haczyk, który wbija się w moje ciało tym głębiej, im gwałtowniej się będę szamotał. Gdybym zaś przypuścił, że odpowiedź będzie niepomysłna, powinienem jeszcze przewidzieć, że z nagła rozpali ona we mnie na nowo szaloną i gorącą miłość. Powinienem też przed wysłaniem listu zadać sobie pytanie, co zrobię, jeśli Albertyna odpisze mi w tym samym tonie i nie wróci. Czy zdołałbym wówczas zapanować nad swoim bólem i zmusić się do milczenia? Czy nie wysłałbym depezy: „Wracaj!”, albo kolejnego emisariusza, co po stanowczym

oświadczeniu, że nie spotkamy się więcej, stanowiłoby dowód najbardziej niezbity, iż nie mogę obejść się bez niej; w ten sposób utwierdziłbym ją w zaciętym uporze, w końcu zaś, nie mogąc dłużej znosić tych męczarni, byłbym do niej pojechał. I może — kto wie? — nawet nie zgodziłaby się mnie przyjąć. Byłaby to trzecia z kolei fatalna niezręczność, bez wątpienia przerastająca dwie poprzednie, taka, po której nie pozostałoby mi już nic innego, jak tylko zastrzelić się pod oknem Albertyny. Lecz zaburzona świadomość zniekształca obraz świata do tego stopnia, że błędny krok, taki, którego należy wystrzegać się najbardziej, objawia się jako środek ratujący sytuację i nim poznamy jego skutki, niesie nam ukojenie; otwierając nowe, pełne nadziei perspektywy, uwalnia nas niezwłocznie od bezdennej rozpacz, w której pograżyło nas odtrącenie. Gdy ból jest zbyt silny, zdajemy się na najgorsze wyjścia, piszemy listy, powierzamy komuś swe błagania, sami wreszcie wyruszamy do ukochanej, zdradzając się z tym, że nie możemy bez niej żyć.

Ale tego wszystkiego nie przewidziałem. Przeciwnie, wierzyłem, że mój list skłoni Albertynę do jak najszybszego powrotu. Toteż pisząc go, czułem już błogość na myśl o spodziewanym skutku. Tymczasem jednak ani na chwilę nie przestawałem płakać. Tak jak owego dnia, kiedy odgrywając scenę rozstania, zalałem się łzami, uległszy w moich własnych słowach myśli, której jedynym celem było wprowadzić w błąd moją przyjaciółkę, bo przecież głosiłem intencję przeciwną tej, która naprawdę mi przyświecała. Lecz była i inna przyczyna tych łez: usłyszałem wtedy, że w moich słowach dźwięczy prawda.

Upływ czasu przemienia w prawdę wszelkie kłamstwa, czego doświadczyłem w sposób aż nadto wymowny, gdy rozstawałem się z Gilbertą; obojętność, którą udawałem, ledwo się powstrzymując od szloch, z czasem stała się rzeczywistością. I w końcu życie rozdzieliło nas, tak jak zapowiedziałem Gilbertce w swym nieszczerym oświadczeniu, które potrzebowało tylko czasu, by stać się prawdą najprawdziwszą. Pamiętając o tym, mówiłem sobie: „Jeśli Albertyna poczeka parę miesięcy, kłamstwo przemieni się w prawdę. A teraz, kiedy najgorsze mam już za sobą, czyż nie należałoby życzyć sobie, żeby jeszcze przez kilka miesięcy się nie pojawiała? Gdy tylko powróci, znów się wyrzeknę pełni życia, której smaku co prawda nie mógłbym w tej chwili docenić, lecz przecież mogłem liczyć na to, że z czasem, gdy zatrze się wspomnienie Albertyny, życie znów roztoczy przede mną wszystkie swoje uroki”<sup>1431</sup>.

Choć skutek mojego listu wydał mi się pewny, zacząłem żałować, że go wysłałem. Gdy bowiem wyobraziłem sobie tak łatwy powrót Albertyny, nagle wszystkie argumenty, przemawiające przeciwko temu niekorzystnemu dla mnie małżeństwu, powróciły ze zdwojoną siłą. Miałem nadzieję, że odmówi powrotu. Myślałem w kółko o tym, że moja wolność, przyszłość i szczęście zależą teraz tylko od jej decyzji; że pisząc do niej, zrobiłem głupstwo; że powinienem odzyskać list, który Franciszka niestety już zabrała. I wtedy właśnie weszła, dostałem go od niej z powrotem razem z gazetą: nie nakleiła znaczków, nie wiedziała, za ile. W tej samej chwili zmieniłem zdanie. Wolałem, żeby Albertyna nie wracała, ale życzyłem sobie, żeby podjęła tę decyzję za mnie, kładąc kres moim rozterkom, postanowiłem więc oddać list Franciszce. Tymczasem otworzyłem gazetę. Była w niej wiadomość o śmierci Bermy. Przypomniałem sobie, jak to słuchałem *Fedry* na dwa różne sposoby, i właśnie przyszedł mi na myśl trzeci sposób odczytania sceny oświadczyń. Wydawało mi się, że w tych wersach, słyszanych w teatrze i tak często rozbrzmiewających w mojej pamięci, tkwią prawdy, których przyjdzie mi doświadczyć na własnej skórze. Na pewnych rzeczach zależy nam bardziej, niż jesteśmy tego świadomi. Jeśli obywamy się bez nich, to dlatego jedynie, że nie sięgamy po nie, że odkładamy to z dnia na dzień, w obawie przed porażką i cierpieniem. To właśnie mi się przytrafiło, kiedy myślałem, że się wyrzekłem Gilberty. Miłość naprawdę traci nad nami władzę dużo później, niż sądziłiśmy, że ją straciła, ale niech tylko dziewczyna zaręczy się z kim innym, znowu ogarnie nas szaleństwo i zmierzi nas to życie, którego łagodna melancholia już zaczęła się nam wydawać całkiem znośna. To, co jest w naszym posiadaniu, odczuwamy jako ciężar, który najchętniej zrzucilibyśmy z barków. Takim właśnie ciężarem była mi Albertyna. Kiedy jednak zniknie ta całkiem już obojętna nam istota, życie traci smak. Czyż w treści *Fedry* nie przeplatają się ze sobą obydwa te stany? Hipolit odjeżdża. Fedra — która aż do tej

<sup>1431</sup> *Upływ czasu przemienia w prawdę (...) wszystkie swoje uroki* — akapit został tu przeniesiony przez Prousta z dalszej części tekstu. Następował po akapicie, który kończył się słowami *i to mnie wprowadziło w oszołomienie*. [przypis tłumacza]

chwili rozmyślnie ściągała na siebie jego niechęć — powodowana poczuciem winy, jak twierdziła sama (lub raczej autor włożył w jej usta to wyznanie), a może także prowadzącą do rezygnacji świadomością, że nie jest kochana, przestaje dbać o pozory. Wyjawia Hipolitowi swoją miłość, i oto scena, którą tak często przywoływałem:

Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie.<sup>1432</sup>

Ale rzekome powody wyjazdu Hipolita, jak można się domyślać, nic nie znaczą wobec śmierci Tezeusza. Podobnie, parę wierszy dalej, Fedra chce udać, że została źle zrozumiana:

Czylim część moją na szwank w czym podała?

i domyślamy się, iż mówi to dlatego jedynie, że Hipolit wzgardził jej wyznaniem:

Pani! Zapominasz...

Żona Tezeja mówi-ż to do jego syna?

Gdyby jej nawet nie odtrącił z oburzeniem, gdyby dostąpiła upragnionego szczęścia, uznałaby je może, tak jak ja swoje, za bezwartościowe. Widząc jednak, że jest nieosiągalne, że Hipolit uwierzył zbyt łatwo w swą pomyłkę i śpieszy przeproszać, Fedra chce uczynić to samo, co ja uczyniłem, kiedy postanowiłem po raz drugi oddać list Franciszce: chce zostać przez Hipolita odtrącona naprawdę, chce sprawdzić do końca, co los kryje dla niej jeszcze w zanadrzu.

Ha, okrutny! Dobrześ mnie zrozumiał!

I nie było słów zbyt gwałtownych, przed których użyciem cofnęłaby się w tej scenie — słów takich jak te, którymi, o czym mi mówiono, Swann zwracał się do Odety, i których ja sam używałem wobec Albertyny, słów zdolnych wstrząsnąć związkiem dwojga ludzi, nadać mu nowy kształt bliskości i współczucia.

Tyś nienawidził, jam cię tym straszniej kochała.

Nieszczęścia twe stroiły cię w powaby nowe.

Że to nie cześć jest dla Fedry najcenniejsza, zgadujemy, widząc jej gotowość, by odrzucić rady Enony i wybaczyć mu wszystko; ale w tej samej chwili dowiaduje się o jego miłości do Arycji. Zazdrość, która idzie w parze z ostateczną utratą szczęścia w miłości, jest w nas bardziej drażliwa niż miłość własna. Dlatego Fedra pozwala Enonie (która jest uosobieniem tego, co najgorsze w niej samej) rzucić oszczerstwo na Hipolita, i nic nie uczyni, by go ocalić. Temu, który nią wzgardził, gotuje tragiczny los, ale i to nie będzie dla niej żadną pociechą, gdy bowiem on zginie, ona wybierze samobójczą śmierć. Tak właśnie rozumiałem tę scenę, odmawiając znaczenia skrupułom — „jansenistycznym”, jak określiliby je Bergotte — które Racine przypisał Fedrze, aby umniejszyć jej winę. I owa scena wydawała mi się proroczo uprzedzać wypadki miłosne mojego życia. Ale rozmyślania te nie wpłynęły na zmianę moich zamiarów. Oddałem list Franciszce, żeby go zaniósła na pocztę. Musiałem bowiem doprowadzić do końca przedsięwzięcie, które uznałem za nieodzowne, gdy tylko dowiedziałem się, że nie doszło do skutku. Mylimy się, gdy sądzimy, że spełnienie któregoś z pragnień znaczy dla nas zbyt mało; wystarczy cię obawy, że coś zagraża osiągnięciu celu, i oto na nowo zaczyna być upragniony; jedynie póki uważaliśmy sukces za rzecz pewną, mogliśmy myśleć, że nie jest wart zachodu. Lecz myśląc się, mamy też trochę racji. Jeśli bowiem szczęście spełnienia wydaje nam się zbyt liche dlatego jedynie, że mamy je w zasięgu ręki, to jednocześnie ciąży nad nim niepewność, która łatwo może obrócić się w smutek. I smutek będzie tym większy, im pełniejsze szczęście przypadło nam w udziale; tym bardziej niemożliwy do zniesienia,

<sup>1432</sup>Mówią, że nas opuszczasz w najbliższej godzinie — ten i następane fragmenty *Fedry* w przekładzie T. Boya-Zeleńskiego. [przypis tłumacza]

im dłużej ono trwało, opierając się prawom natury, uświęcone przyzwyczajeniem. Każdy z dwóch sprzecznych impulsów — pierwszy kazał mi zadać sobie trud wysłania listu, drugi odezwał się, kiedy myśląc, że list został już wysłany, pożałowałem tego kroku — był na swój sposób uzasadniony. Co do tego pierwszego, jest aż nadto zrozumiałe, że gdy uganiamy się za własnym szczęściem (albo nieszczęściem), to podejmując działania zmierzające do określonych celów, usiłujemy rozbudzić w sobie nowe oczekiwania, żeby uchronić się przed rozpaczą, krótko mówiąc, próbujemy zmusić chorobę, która nas dręczy, by zmieniła właściwy sobie zespół objawów na inny, w naszym mniemaniu mniej dokuczliwy. Ten drugi impuls, przeciwny pierwszemu, dorównuje mu siłą, płynnie bowiem z wiary w powodzenie tego, cośmy zamierzali, i pojawia się właśnie w tym momencie, kiedy możemy już przeczuwać rozczarowanie, jakie niebawem przyniesie nam sukces; w momencie, kiedy pojawia się pierwszy przeblysł niechęci do raz na zawsze wybranej przez nas, zamiast wielu innych, odmiany szczęścia.

Zwróciłem więc list Franciszce i kazałem jej od razu nadać go na pocztę. Gdy tylko został wysłany, znów nabrałem pewności, że powrót Albertyny jest coraz bliższy. Myśl podsuwała mi błogie wyobrażenia, których urok łagodził obawy związane z jej powrotem. Już prawie czułem znów utraconą słodycz jej trwającej miesiącami obecności, i to mnie wprawilo w oszołomienie.

Nie mógłbym twierdzić, że zapomnienie zwlekało z rozpoczęciem swego dzieła. Lecz właśnie za jego sprawą pewne niemiłe przywary Albertyny i zionące nudą godziny z nią spędzone zacierały się w mojej pamięci, nie miałem więc powodu tęsknić za jej nieobecnością, jak to się nieraz zdarzało, gdy jeszcze była ze mną; zapomnienie upiękoczyło jej wizerunek, wymazując szczegóły i opromieniając ją urokiem wszystkich miłości, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Niepamięć, która przede wszystkim godziła mnie z rozłąką, w tej szczególnej swej postaci wywierała wpływ odwrotny, bo ukazywała mi Albertynę miłszą i ładniejszą, każąc mi życzyć sobie jej powrotu.

Po wyjeździe Albertyny, wierząc, że nie znać po mnie przelanych łez, od czasu do czasu wzywałem Franciszkę i mówiłem jej: „Trzeba sprawdzić, czy panna Albertyna czegoś nie zapomniała. Proszę zadbać o jej pokój, żeby znalazła go w najlepszym porządku, kiedy wróci”. Albo zgła: „Powiedziała mi właśnie niedawno, chyba w przeddzień wyjazdu...” Chcąc popsuć Franciszce brzydką uciechę, jaką miała z wyjazdu Albertyny, kazałem jej się domyślać, że to tylko chwilowa nieobecność. Chciałem pokazać, że nie obawiam się poruszyć tego tematu, i niczym generał zmuszony do odwrotu, mówiący zaś o przegrupowaniu wojsk na dogodne pozycje strategiczne, dać do zrozumienia, że wyjazd Albertyny wynikał z mojego zamysłu, który za wcześniej byłoby ujawnić, lecz w żadnym razie nie ma mowy o zerwaniu. I przepowiadając sobie bez końca imię Albertyny, miałem nadzieję wpuścić choćby daleki powiew jej utraconej obecności do tego opustoszałego pokoju, którego powietrzem dłużej nie byłem w stanie oddychać. Próbuje pomniejszyć nasz ból, szukając dla niego przyziemnych środków wyrazu, wybieramy ton, jakim udziela się wskazówek krawcowi i wydaje rozporządzenia dla kucharki w sprawie obiadu.

Sprzątając pokój Albertyny, wścibska Franciszka otworzyła szufladę stoliczka z drzewa różanego, do której moja przyjaciółka odkładała wieczorem swoje ozdoby, zdjęte przed snem.

— Och, panicz, panna Albertyna zapomniała pierścionków, zostały w szufladzie!

W pierwszym odruchu chciałem powiedzieć: „Trzeba je odesłać”. Ale wówczas oznaćby to, że sam nie wierzę w jej powrót.

— Nie szkodzi — odpowiedziałem po chwili milczenia. — Nie warto odsyłać. Przez te parę dni Albertyna jakoś się bez nich obejdzie. Proszę mi je pokazać.

Wracając z pierścionkami, Franciszka przyglądała mi się podejrzliwie. Nienawidziła Albertyny, lecz mierząc mnie własną miarą, przyjęła to za rzecz pewną, że nawet listu nie można by mi powierzyć bez obawy, że go zaraz otworzę. Wziąłem pierścionki z jej rąk.

— Ale niech panicz uważa, żeby ich nie pogubić — powiedziała. — Można powiedzieć, że są ładne. Nie wiem, od kogo je dostała, od panicza czy od kogo innego, ale widać, że to był ktoś z pieniędzy, i do tego znawca.

— Nie dostała ich ode mnie — odparłem. — I nie są to prezenty od tej samej osoby. Jeden dała jej ciotka, drugi sama sobie kupiła.

— Nie od tej samej osoby! — zawołała Franciszka. — Panicz sobie żartuje, widać przecież, są prawie że jednakowe, tyle że w jeden wprawili rubin, ale na obydwu jest ten orzeł, i inicjały w środku też takie same.

Nie wiem, czy Franciszka była świadoma bólu, jaki mi zadawała, ale szeroki uśmiech przez cały czas nie schodził z jej ust.

— Jakie znów orły? Czy Franciszka wie, co mówi? Na tym bez rubinu widać orła, ale na tym drugim jest wygrawerowana głowa mężczyzny.

— Głowa mężczyzny? Gdzie panicz ją widzi? Jak tylko włożyłam binokle, od razu poznałam, że to jest orle skrzydło. Niech panicz weźmie lupę, zobaczy panicz drugie z tej strony, a łeb z dziobem pośrodku. Każde piórko widać. O, to nie byle jaka robota.

Pałacy przymus sprawdzenia prawdomówności Albertyny kazał mi zapomnieć, że powinienem ochronić przed Franciszką resztki swej godności, odmówić jej tej niegodziwej zabawy, która polegała na poddawaniu mnie torturom — a w każdym razie zabronić rzucania podejrzeń na moją przyjaciółkę. Gdy z trudem łapałem oddech, Franciszka szukała mojej lupy. Wziąłem ją od niej, poprosiłem, żeby mi pokazała orła na pierścionku z rubinem. Bez trudu dowiodła mi, że skrzydła stylizowane są tak samo jak na drugim pierścionku, zobaczyłem każde piórko i głowę także. Nawet krój liter, które mi wskazała, był podobny, przy czym wewnątrz pierścionka z rubinem oprócz inicjałów Albertyny dostrześliśmy jeszcze jakieś inne.

— Ale co mnie dziwi, to że panicz bez tych szczegółów nie wypatrzył gołym okiem podobieństwa — powiedziała Franciszka. — Toż widać z daleka, że taki sam kształt i robota. Ledwo spojrzałam, już mogłabym przysiąc, że wyszły spod jednej ręki. Poznać to od razu, jak kuchnię dobrej kucharki.

W samej rzeczy, docieklivość Franciszki, cecha powszechna wśród służby, wyostrzona dodatkowo przez uprzedzenia i nawyk taksowania każdego szczegółu z budzącą grozę dokładnością, wspomogła w tej ekspertyzie jej dobry smak, ten sam, który przejawiała w sprawach kuchni i który znajdował wyraz także, jak zauważyłem, wyjeżdżając do Balbec, w jej ubiorach, w kokieterii kobiety niegdyś bardzo ładnej, którą przez całe życie zajmowały cudze toalety i biżuteria. Gdybym tego dnia wypił za dużo herbaty, a na dodatek pomylił pudełka z lekarstwami i zamiast kilku tabletek weronału zażył tyleż samo kofeiny, moje serce nie mogło bić gwałtowniej. Poprosiłem Franciszkę, żeby mnie zostawiła samego.

Potrzebowałem natychmiast rozmówić się z Albertyną. Ohyda odkrytego kłamstwa i zazdrość, nie wiadomo o kogo, wzmogły rozpacz, jaką budziła we mnie myśl, że ona przyjmowała takie prezenty. To prawda, że ode mnie dostawała ich więcej, lecz jeśli to my utrzymujemy kobietę, nigdy nie nazwiemy jej utrzymanką, póki nie przekonamy się, że była nią i dla innych. A przecież gdy wyrzucałem dla niej tyle pieniędzy, wcale nie raziła mnie jej interesowność, przeciwnie, podsyciałem ją w Albertynie; może rozwinęła ją dzięki mnie, a może nawet sam ją w niej zasiałem. Ale że wszyscy potrafimy wymyślać bajki zdolne ukoić nasz ból i przymierając głodem, możemy snuć rojenia o milionowej fortunie, jaką zapisze nam nieznany dobroczyńca, wyobraziłem sobie, że trzymam ją w ramionach, a ona tłumaczy mi, że ten drugi pierścionek kupiła właśnie ze względu na jego podobieństwo do pierwszego, po czym sama dała na nim wygrawerować swoje inicjały. Wyjaśnieniu, które znalazłem, brakowało jeszcze mocnych korzeni, dobroczynnie wrosniętych w moją świadomość, toteż ból nie ustąpił od razu. I pomyślałem, że wielu z tych mężczyzn, którzy opowiadają cuda o przywiązaniu swych kochanek, musi znosić podobne tortury. Lecz okłamują innych i siebie. W takim kłamstwie tkwi ziarno prawdy, niejeden z nich przeżywa bowiem z kochanką chwile pełne prawdziwej słodyczy. Ale czułości, jakimi obsypuje go ona publicznie, pozwalając mu afiszować się swoim szczęściem przed przyjaciółmi, a nawet ta anielska dobroć, jakiej doświadczył od niej, kiedy byli sami, przesłoni mu długie godziny samotnej męki, o której nikt nie wie, bolesnych domysłów i daremnego trudu dochodzenia prawdy. Taką właśnie udręką płaci się za słodycz miłości, za słuchanie upojnych głupstw, o których wiemy, że nic nie znaczą, lecz przesycone są zapachem naszej ukochanej. Teraz jednak nie mogła mnie już odurzyć woń perfum Albertyny, przechowana tylko w pamięci. Załamany, położyłem na dłoni obydwu pierścionki i patrzyłem na okrutny profil orła, na dziób, który zranił mi serce, na starannie wycyzelowane pióra skrzydeł, które rozwiały moją ufność, na szpony,



w których wiła się bez ratunku moja myśl zadręczająca się pytaniami o tożsamość tego trzeciego. Figura orla mogła kryć w sobie aluzję do nazwiska, która dla mnie pozostawała nieczytelna. Musiał to być ktoś, kogo Albertyna kiedyś kochała; bez wątpienia spotkała się z nim niedawno, bo właśnie w ów pogodny, szczęśliwy dzień naszej przejażdżki do Lasku po raz pierwszy zobaczyłem u niej drugi pierścionek, ten, na którym orzeł nurzał dziób w krwawej czerwieni rubinu.

Jeśli od rana do nocy bez chwili przerwy rozpaczalem z powodu wyjazdu Albertyny, to nie znaczy, że myślałem tylko o niej. Jej czar dawno już udzielił się wielu miejscom, które potem straciłem z oczu, lecz które przechowały w sobie ślad owej ekscytacji, jaką kiedyś przejmowała mnie jej obecność. Jeśli cokolwiek ściągnęło moją myśl ku Incarville, Verdurinom lub nawet ku nowemu przedstawieniu z Leą w głównej roli, natychmiast powalał mnie nagły atak bólu. Z drugiej strony to, co brałem za myśli o Albertynie, sprowadzało się do rozważań, jak zmusić ją do powrotu, jak ją odzyskać, jak się dowiedzieć, co robi. Gdyby nie kończące się godziny mojej męki jakiś ilustrator opatrzył szkicami wizji, które im towarzyszyły, znalazłyby się wśród nich widoki Gare d'Orsay, banknoty posłane pani Bontemps, Saint-Loup pochylający się nad pulpitem przy okienku telegrafisty, by wypełnić blankiet depeszy — ale postać Albertyny nie pojawiłaby się ani razu. Przez całe życie egoizm nasz spogląda ku celom drogim naszemu ja, ale samo w sobie owo ja pozostaje poza zasięgiem wzroku, gdy prowadzi swoje gry; tak też żądze, które popychają nas do czynów, zapatrzone są w te czyny, nigdy w siebie, może dlatego, że kierują się wyłącznie względami praktycznymi i szukają ujścia w działaniu, w pogardzie zaś mają wszelkie prawdy. Lub może wyrwywają się ku przyszłości, by odbić sobie w niej rozczarowania chwili obecnej. Albo też umysł w swej gnuśności woli staczać się po łagodnych zboczach imaginacji, nie pragnąc trudnej wspinaczki ku samowiedzy.<sup>1433</sup> W chwilach krytycznych, kiedy gotowi jesteśmy rzucić na szalę własne życie, istota, od której kaprysu ono zależy, zaczyna maleć i znikać; wtedy odkrywamy, jak przytłaczająca część przestrzeni naszego świata poddała się jej władzy. Na wszystko wokół pada odbłask jej obecności i wywołuje w nas poruszenie, ale jej samej, źródła światłości, nie widać nigdzie. W owych dniach tak dalece nie byłem w stanie przywołać wyobrażenia Albertyny, jakbym naprawdę nie kochał jej wcale; podobnie moja matka w chwilach najgłębszej żaloby nie znajdowała w pamięci obrazu mojej babki (jeśli nie liczyć przypadkowego nocnego spotkania, które dla niej miało tak wielką cenę, że przełamując bezwład snu, dobyte wszystkich sił, by je przedłużyć) i mogła obwiniać się, że nie dość rozpacza po tej śmierci, po której sama wprawdzie nie potrafiła powrócić do życia, lecz postać zmarłej uleciała z jej pamięci.

Dlaczego miałbym sądzić, że Albertyna nie lubiła kobiet? Dlatego że sama mi to mówiła, zwłaszcza w ostatnich czasach; ale czyż nasze życie nie było od początku podszyte kłamstwem? Nigdy przecież nie zdarzyło się, by zapytała: „Czemu nie pozwolisz mi wychodzić, dokąd chcę? Czemu śledzisz każdy mój krok, wypytujesz innych, co robiłam?” Prowadziliśmy życie tak szczególne, że jeśli nie zadała tych pytań, to dlatego jedynie, że sama dobrze wiedziała, w czym rzecz. Czyż trudno pojąć, dlaczego głuchej ciszy, w jakiej narzuciłem jej klauzurę, odpowiedziało równie uparte milczenie na temat jej nienasyconych pragnień, jej niezliczonych wspomnień, nadziei i żądz? Kiedy napomykałem o rychłym powrocie Albertyny, Franciszka zdawała się wiedzieć, że kłamię. Ten domysł opierał się na podstawie solidniejszej niż płynąca z doświadczenia wiedza, że państwo nie lubią, kiedy służba widzi ich upokorzenie, toteż mówią o swoich sprawach tylko tyle prawdy, by nie naruszyć pochlebnej fikcji, utrzymywanej dla zapewnienia sobie szacunku. Tym razem Franciszka wiedziała swoje skądinąd — być może, dokuczając Albertynie, podsycala w niej nieufność i rozdrażnienie, krótko mówiąc, sama doprowadziła ją do stanu, w którym ucieczka mogła nastąpić w każdej chwili. Jeśli istotnie tak było, to moja historyjka o krótkotrwałym wyjeździe, o którym wiedziałem, na który wyraziłem zgodę, musiała się Franciszce wydać całkiem niewiarygodna. Z drugiej strony przekonanie o interesownej naturze Albertyny, nienawistna przesada, z jaką Franciszka wyolbrzymiała „zyski” ciągnięte przez nią z mojej kieszeni, przynajmniej do pewnego stopnia powinny ową niewiarę osłabić. Kiedy wspominałem przy Franciszce o mającym

<sup>1433</sup>wspinaczki ku samowiedzy — w tym miejscu kończył się akapit i następował fragment o zamierzonym kupnie auta i jachtu. [przypis tłumacza]

niebawem nastąpić powrocie jako o czymś, co rozumie się samo przez się, wpatrywała się we mnie w skupieniu (tak samo, jak w maître'a hotelu w Balbec, gdy przekomarzał się z nią i zmieniał niektóre słowa z gazety, którą jej czytał na głos, a której treść wydawała jej się nieprawdopodobna: na przykład, że kościoły zostaną zamknięte, a księża deportowani; usadowiona na drugim końcu kuchni, nie mogąc przeczytać ani słowa, Franciszka z równie wyężoną uwagą wbijała wtedy wzrok w gazetę); patrzyła więc i teraz tak, jakby chciała sprawdzić, czy jej mówię to samo, co piszą w gazecie, czy nie zmyślam.

Gdy jednak zobaczyła, że chcę wysłać długi list i szukam dokładnego adresu pani Bontemps, mglista przedtem obawa, że Albertyna wróci, zaczęła dla niej nabierać kształtu. W tym większej była konsternacji, kiedy razem z moją poranną pocztą przyniosła mi list, na którego kopercie można było rozpoznać pismo Albertyny. Zaczynała się zastanawiać, czy aby wyjazd Albertyny nie był jakąś komedią, i to przypuszczenie dopiekło jej podwójnie, po pierwsze bowiem wyglądało na to, że Albertyna na dobre zapuściła u nas korzenie, po drugie zaś Franciszka mogła poczuć się osobiście upokorzona tym, że jej państwo dają się wodzić za nos byle komu. Choć drżałem z niecierpliwości, by przeczytać list, nie odmówiłem sobie badawczego spojrzenia w oczy Franciszki; wydało mi się, że opuściła je nadzieja. Uznałem to za dobrą wróżbę, zwiastującą bliski powrót Albertyny — niczym zapalony łyżwiarz, który z nadzieją obserwuje odlot jaskółek, licząc na wczesne mrozy. Odprawiłem Franciszkę i upewniwszy się, że dobrze zamknęła za sobą drzwi, bezszelestnie, by nie wydać się niecierpliwym, otworzyłem list takiej treści:

„Mój Drogi, dziękuję za wszystkie miłe słowa, które mi napisałeś. Jeśli zdecydujesz się odwołać rollsa, jestem do Twoich usług; piszesz, że mogę ci pomóc, więc z chęcią to uczynię. Musisz mi tylko podać adres pośrednika. Nie daj sobie dmuchać w kaszę, tym ludziom zawsze chodzi tylko o jedno, chcą sprzedawać. Na co ci auto, skoro siedzisz w domu? Jestem bardzo wzruszona, że zachowałeś dobre wspomnienie o naszej ostatniej przejażdżce. Wierz mi, że ja nigdy nie zapomnę tamtego zmierzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą nadciągało rozstanie. Na zawsze pozostanie on w mojej pamięci, póki nie pochłonie go ciemność wiekuista”.

Rozumiałem, że były to tylko słowa; nie przechowa przecież aż do śmierci wspomnienia tej miłej przejażdżki, która w istocie niewiele mogła jej sprawić radości, kiedy już było jej spieszo uciekać. Lecz jednocześnie zauważyłem z uznaniem, że ta cyklistka z Balbec, amatorka golfa, która, nim mnie poznała, nie przeczytała bodaj nic oprócz *Estery*, jest naprawdę zdolna. Ileż miałem racji, gdy przypuszczałem, że czas spędzony w moim domu wzbogaci ją o nowe przymioty, które ją odmieniają, dodając uroku. Albo gdy powiedziałem jej w Balbec: „Wiem, że moja przyjaźń byłaby dla pani cenna, jestem bowiem człowiekiem zdolnym ofiarować to, na czym pani zbywa”. Albo gdy umieściłem na fotografii dedykację: „Z przekonaniem, że odegram rolę opatrnościową” — zdanie to napisałem, nie wierząc w nie wcale, jedynie po to, by zachęcić Albertynę do kolejnych spotkań i do cierpliwego znoszenia nudy, którą musiała w nich znajdować, tymczasem ono także, jak czas pokazał, głosiło prawdę. Kiedy zaś mówiłem jej, że boję się ją widywać, bo mógłbym się w niej zakochać, miałem na uwadze rzecz wprost przeciwną: wiedziałem, że to rozłąka rozpala moją miłość, a gaszą ją częste spotkania. W rzeczywistości jednak częste spotkania zrodziły we mnie potrzebę jej obecności nieskończenie silniejszą od moich uczuć z pierwszego okresu Balbec, czas pokazał więc, że i w tym stwierdzeniu kryła się prawda.

Ostatecznie jednak list Albertyny nie przyniósł żadnego postępu w moich staraniach. Nie zaoferowała nic ponad gotowość nawiązania korespondencji z pośrednikiem zajmującym się sprzedażą aut. Musiałem jakoś przełamać impas, wyrwać się z tego zastoju. Wpadłem na pomysł następujący: napisałem do Anny list, w którym zawiadaniałem ją, że Albertyna jest u ciotki, że czuję się bardzo samotny i byłbym szczęśliwy, gdyby zechciała się do mnie wprowadzić na kilka dni, ale nie zamierzam tego ukrywać przed Albertyną; prosiłem więc, by dała jej o tym znać. I jednocześnie napisałem do Albertyny, tak jakbym jeszcze nie dostał jej listu:

„Moja Droga, wybaczysz mi z pewnością to, co nietrudno ci będzie zrozumieć: tak nie lubię mieć tajemnic, że chciałem, byś dowiedziała się o tym od Anny i ode mnie. W czasach Twej pełnej wdzięku obecności w moim domu nabrałem złych przyzwyczajęń, nie umiem być sam. Skoro postanowiliśmy rozstać się na zawsze, pomyślałem o kimś,

kto mógłby zająć Twoje miejsce, kto nie wywoła w moim życiu wielkich zmian i kto będzie mi Ciebie przypominał: o Annie. Zaprosiłem ją do siebie. Żeby jej zanadto nie zaskoczyć, mówiłem o paru dniach, ale tak między nami, wydaje mi się, że tym razem to już będzie na zawsze. Czyż nie postąpiłem rozsądnie? Pamiętasz, jaki urok miała dla mnie wasza „banda” w Balbec, jaki byłem szczęśliwy, kiedy pewnego dnia poczułem, że ja także do niej należę. Do dziś pozostaję pod jej urokiem, co tłumaczy moją decyzję. Fatalność naszych charakterów i nieprzychylny los nie pozwoliły mi ożenić się z moją Albertynką, ale zaświtała nadzieja, że znajdę żonę — może nie tak czarującą, za to z usposobienia bardziej do mnie podobną, co pozwoli jej zaznać przy mnie więcej szczęścia — w Annie”.

Lecz kiedy list został już wysłany, nagle nabrałem podejrzeń, że pisząc mi „Przyjechałabym z miłą chęcią”, Albertyna skorzystała z tej właśnie okoliczności, że jej o nic wprost nie poprosiłem. Gdybym nawet był to uczynił, może i tak nie miała zamiaru wracać. Zacząłem się obawiać, że przyjmie z radością wiadomość o pobycie Anny w moim domu, potem zaś o naszym małżeństwie, bo chodzi jej tylko o to, by samej zachować wolność, którą cieszyła się od ośmiu dni, mogąc wreszcie bez przeszkód oddawać się swym namiętnościom i deptać wszelkie ograniczenia, narzucone jej w czasie sześciu z okładem miesięcy naszego wspólnego paryskiego życia, gdy dniem i nocą, bez chwili przerwy trzymałem ją w ryzach. Moje wysiłki były daremne, albowiem w ciągu tych ośmiu dni Albertyna, również bez chwili przerwy, robiła z pewnością wszystko to, w czym przedtem zdołałem jej przeszkodzić. Domyślałem się, że źle używa swojej wolności, i te podejrzania przejmowały mnie smutkiem, nie wykraczając jednak poza mglistą ogólność; szczegóły były mi oszczędzone, a ponieważ pozostawałem w niepewności co do liczby kochanek Albertyny, nie musiałem wyobrażać sobie żadnej z nich z osobna, toteż moje myśli krążyły nieustająco i nigdzie się nie zatrzymywały. Jeśli zaś towarzyszył im ból, to niewielki i znośny, bo wizja była nie dość wyrazista. Ale ten stan nie utrzymał się długo, gdy bowiem wrócił Saint-Loup, ból gwałtownie przybrał na sile.

Zanim jednak wyjaśni się, dlaczego jego słowa uczyniły mnie tak nieszczęśliwym, przytoczyć trzeba pewne zdarzenie, do którego doszło bezpośrednio przed tą wizytą i które potem prześladowało mnie do tego stopnia, że jeśli nawet nie przyćmiło w mojej pamięci niemilego wspomnienia rozmowy, to w każdym razie rzuciło na nią głęboki cień. Incydent ów miał przebieg następujący: gdy płonąć z niecierpliwości, oczekiwałem Roberta na schodach (na co nie mógłbym sobie pozwolić, gdyby matka była wtedy w Paryżu, wystawiana na schodach bowiem nie znosiła najbardziej w świecie, tak samo jak „dysput okiennych”), nagle usłyszałem czyjś głos:

— Jakże to? Nie wiesz, jak się go pozbyć, skoro ci się nie podoba? To bardzo proste. Na przykład schowaj przedmioty, po które go zwykle posyłają. Kiedy będą czegoś potrzebowali i na niego zadzwonią, a on tego nie znajdzie, z miejsca straci głowę. Moja ciotka się wścieknie. Zawoła cię i zapyta: „Gdzie on się w ogóle podziewa?” Kiedy wreszcie przybiegnie spóźniony, w dodatku bez tego, czego chcieli, wszyscy będą go mieli dość. Bądź pewny, że za czwartym czy piątym razem go odprawią. Możesz mu zresztą po kryjomu ubrudzić, co tam sobie uprał i uprasował do podania. Jest ze sto podobnych sposobów.

Oniemiałem ze zgrozy, bo głos, który wypowiedział te cyniczne i okrutne słowa, należał do Roberta de Saint-Loup. Mając go dotąd za człowieka niezrównanej dobroci, pełnego współczucia dla ludzkich nieszczęść, poczułem się tak, jakbym nagle ujrzał w nim diabła. Nie mogłem uwierzyć, że naprawdę tak myślał.

— Każdy chce zarobić na życie — odezwał się jego rozmówca, w którym rozpoznałem jednego z lokajów księżny de Guermantes.

— Gwiżdż na to, dbaj tylko, żeby tobie dobrze się wiodło — odparł bezlitośnie Saint-Loup. — Przynajmniej będziesz miał komu dawać w kość. Wylej mu atrament na liberię przed samym przyjęciem, dręcz go bez chwili wytchnienia, a w końcu sam zechce odejść. Zresztą mogę ci pomóc, pochwalę cię przed moją ciotką za anielską cierpliwość, że zgadzasz się służyć razem z takim niezgułą i brudasem.

Gdy ruszyłem ku nim, Saint-Loup rzucił mi się naprzeciw, ale ufność, jaką w nim pokładałem, była już nadwerżona po tym, co usłyszałem, a co wydawało mi się do niego zupełnie niepodobne. Zastanawiałem się, czy człowiek, który potrafi być tak okrutny dla jakiegoś biedaka, nie mógł postąpić zdradziecko wobec mnie samego, gdy posłałem go do pani Bontemps. Pamiętając o tym i później, nie byłem już tak skłonny niepowodzenia jego

misji uznać za dowód, że moja sprawa była beznadziejna. Lecz kiedy rozsiadł się u mnie, znowu był dawnym Robertem de Saint-Loup, przede wszystkim zaś przyjacielem, który wracał od pani Bontemps. Zaczął tak:

— Miałeś pretensje, że częściej do ciebie nie dzwoniłem, ale ciągle mówili mi, że twoja linia jest zajęta. — Moje cierpienie sięgnęło szczytu, kiedy po chwili powiedział: — Zacznę od tego, na czym skończyła się moja ostatnia depesza. Przeszedłem przez wozownię i znalazłem się w domu, po czym zostałem wprowadzony do salonu na końcu długiego korytarza.

Przy tych słowach — „wozownia”, „korytarz”, „salon” — zanim jeszcze wybrzmiały do końca, moje serce wpadło w trzepot bardziej gwałtowny i prędki, niż gdyby targnął nim prąd elektryczny, ból jest bowiem siłą potężniejszą od elektryczności, zdolną przyśpieszyć wirowanie kuli ziemskiej. Wozownia, korytarz, salon, ileż razy powtórzyłem te słowa po wyjściu Roberta, poddając się wciąż na nowo ich wstrząsającej treści. W wozowni można się skryć z przyjaciółką. A salon? Kto wie, co Albertyna w nim robiła pod nieobecność ciotki. I cóż? Czyżbym liczył na to, że dom, w którym mieszka Albertyna, może nie mieć ani wozowni, ani salonu? Nie: przedtem w ogóle go sobie nie wyobrażałem, a jeśli nawet, to obraz był mglisty, zamazany. Ten ból dosięgnął mnie po raz pierwszy, kiedy udało mi się ustalić miejsce jej pobytu; zamiast znajdować się w wielu naraz możliwych do pomyślenia miejscach, była po prostu w Turenii. Informacje stróża wskazały w moim sercu niczym na mapie owo miejsce, które musi boleć. Ale przywykły już do myśli, że zamieszkała w jakimś domu w Turenii, o samym domu nie myślałem wcale. Nigdy w mojej głowie nie powstały groźne obrazy wozowni, korytarza, salonu, a teraz, tuż obok mnie, jawiły się pod powieką Roberta de Saint-Loup, który je widział i pamiętał; wnętrza, w których Albertyna przebywała, przez które przechodziła, w których żyła, te właśnie wnętrza, nie zaś nieskończona mnogość innych, możliwych do pomyślenia, które już się rozplynęły i znikły. Kiedy usłyszałem słowa: wozownia, korytarz, salon, zdało mi się szaleństwem pozostawienie Albertyny na osiem dni w tym przeklętym miejscu, którego byt realny (nie zaś hipotetyczny) właśnie mi się objawił. Gorzej jeszcze! Gdy Saint-Loup wspomniał, że słyszał w tym salonie, jak ktoś śpiewa za ścianą na cały głos, wiedziałem już: to była Albertyna. I pojąłem z rozpaczą, że — uwolniwszy się w końcu ode mnie — poczuła się szczęśliwa! Odzyskała swobodę. A ja myślałem, że wróci z obawy, by Anna nie zajęła jej miejsca. Znowu na wolności, wyrwawszy się z klatki, przy której warowałem całymi dniami, nie mogąc jej zwabić do mojego pokoju, odzyskała cały swój dawny splendor, na powrót stała się tą, za którą cały świat się uganiał, cudownym ptakiem z pierwszych dni. Mój ból przemienił się w gniew i obrócił przeciwko Robertowi.

— Tego jednego właśnie chciałem uniknąć, miała nie dowiedzieć się o twoim przyjeździe.

— Myślisz, że to takie proste! Poinformowano mnie, że nie ma jej w domu. Ale do rzeczy. Jeśli chodzi o te pieniądze, nie wiem, jak ci to powiedzieć: ta kobieta wydała mi się tak delikatna, że bałem się ją urazić. Kiedy napomknąłem o pieniądzach, ani drgnęła. A chwilę później powiedziała mi, że jest głęboko wzruszona tym, że tak dobrze się rozumiemy. Ale wszystko, co potem jeszcze dodała, było tak subtelne, tak wzniosłe, że uznałem za rzecz niemożliwą, by owo zdanie: „Tak dobrze się rozumiemy”, odnosiło się do pieniędzy. Bo przecież, proponując je, zachowałem się po grubiańsku.

— Ale może nie usłyszała, może do niej nie dotarło. Powinieneś powtórzyć. Przecież to musiało niezawodnie zrobić wrażenie i odnieść skutek.

— Jak to nie usłyszała? Mówiłem do niej tak, jak teraz do ciebie. Przecież nie jest głucha ani pomyłona.

— I nic, bez wrażenia?

— Bez żadnego.

— Trzeba było zacząć jeszcze raz.

— Jeszcze raz? O czym ty mówisz? Wystarczyło mi wejść i na nią spojrzeć, od razu wiedziałem, że musiałeś się pomylić. Że kazałeś mi brnąć w jakąś okropną gafę. Nie przyszło mi wcale łatwo powiedzieć jej o tych pieniądzach. Zmusiłem się do tego, żeby spełnić twoje życzenie. Spodziewałem się, że potem wyrzuci mnie za drzwi.

— Ale nie wyrzuciła. To znaczy, że jednak nie usłyszała. Więc trzeba było powtórzyć wszystko od początku albo ciągnąć dalej.

— Mówisz: „Nie usłyszała”, bo cię tam nie było, ale powtarzam ci, gdybyś był świadkiem tej rozmowy, wiedziałbyś, że w zupełnej ciszy wyłożyłem całą rzecz bez ogródek, musiała usłyszeć i zrozumieć.

— A czy chociaż przekonałeś ją, że przez cały czas zamierzałem ożenić się z Albertyną?

— Nie, jeśli o to chodzi i chcesz znać moje zdanie, ona nie wierzy w to ani trochę. Sama powiedziała mi, że wspominała jej siostrzenicy o rozstaniu. Wątpię nawet, czy bierze na serio twoje obecne małżeńskie zamiary.

To podniosło mnie trochę na duchu, zrozumiałem bowiem, że moje upokorzenie nie było aż tak dotkliwe, bym przestał zasługiwać na miłość, co oznaczało, że zostały mi jeszcze jakieś możliwości działania. Nie mogłem jednak ukryć wzburzenia.

— Przykro mi widzieć cię zawiedzionego.

— Ależ skąd, jestem ci wdzięczny, doceniam twoje starania, tylko wydaje mi się, że mogłeś...

— Wszystko, co mogłem, uczyniłem. Kto inny nie osiągnąłby nawet tyle. Zresztą spróbuj z kim innym.

— Gdybym wiedział, czym się to skończy, wcale bym cię nie posyłał. Ale teraz, po takim fiasku, już nawet nie mogę tam nikogo wyprawić.

Niepotrzebnie nękałem go wyrzutami. Chciał jak najlepiej, nie udało się. Kiedy opuścił tamten dom, minął grupkę dziewcząt, świeżo przybyłych. Już i przedtem nachodziła mnie obawa, że Albertyna może mieć znajomości wśród okolicznych dziewcząt, ale aż do tej chwili nie było to przyczyną mojej udręki. Naprawdę można by pomyśleć, że organizm wytwarza naturalne antidotum na toksyczne myśli, które przepływają nieustająco, nie wyrządzając nam żadnej szkody; nie znał jednak sposobu na zubożenie trucizny, jaką wsącżyło w mój umysł spotkanie Roberta z tymi dziewczętami. Ale czyż nie uganiałem się za podobnymi szczegółami, kiedy gotów byłem każdego wypytywać o Albertynę? Czy to nie ja, pragnąc zgromadzić takiej wiedzy jak najwięcej, żądałem kiedyś od Roberta, żeby zamiast zameldować się czym prędzej u pułkownika, zaszedł najpierw do mnie? Jeśli to nie ja pochłaniałem żarłocznie podobne doniesienia, rzucał się na nie mój wiecznie głodny ból i karmiąc się nimi, potężniał. Na koniec Saint-Loup powiedział mi, że miło mu było spotkać tam choć jedną znajomą osobę, która przypomniała mu dawne czasy, bo była to znajoma Racheli, jakaś aktoreczka, która spędzała wakacje w sąsiedztwie. Wystarczyło mi usłyszeć jej nazwisko, żebym sobie powiedział: „Na pewno to ona”. I już widziałem Albertynę w ramionach nie znanej mi kobiety, roześmianą i zaróżowioną z uciechy. Czyż było to nieprawdopodobne? A ja sam, czy wzbraniałem się przed myślami o innych kobietach, odkąd znałem Albertynę? Tamtego wieczoru, kiedy po raz pierwszy byłem u księżnej de Guermantes, wróciłem pogrążony w rozmyślaniach, lecz wcale nie o księżnej, tylko o pewnej młodej kobiecie, o której mówił mi Saint-Loup, że bywa w domach schadzek, a także o pokojówce pani Putbus. Czyż to nie dla niej zdecydowałem się jechać po raz drugi do Balbec? A skoro ostatnimi czasy ciągnęło mnie do Wenecji, dlaczego Albertyny nie miałaby nęcić Turenii? Lecz było rzeczą pewną, że nie myślałem jej porzucić, do Wenecji zaś wcale się nie wybierałem. Choćbym powtarzał sobie w kółko: „Chcę z nią zerwać”, wiedziałem, że nie zdobędę się na to nigdy, tak samo, jak nie byłem w stanie zabrać się do pisania, ani nawet zmienić trybu życia na bardziej higieniczny; byłem niezdolny do spełnienia żadnego z tych chwalebnych zamierzeń, codziennie odkładanych na jutro. Niezależnie jednak od tego, co czułem, sądziłem, że opłaci mi się kazać jej żyć pod nieustającą groźbą ostatecznego rozstania. I w samej rzeczy, dzięki mojej nieszczęsnej umiejętności udawania, przemówiłem do niej aż nazbyt przekonująco. Tak czy inaczej, trzeba było zdecydowanie ukrócić jej swobodę, nie powinna ani chwili dłużej pozostawać w Turenii, w otoczeniu tych wszystkich dziewcząt, pod boki aktorki. Myśl, że utraciłem kontrolę nad życiem Albertyny, była nie do zniesienia. Musiałem jednak czekać, aż odpowie na mój list. Jeśli tymczasem grzeszyła, nie było na to rady. Jeden dzień mniej czy więcej nic by nie zmienił (i być może mówiłem tak sobie tylko dlatego, że odwykłem już od pilnowania jej w każdej minucie i od wpadania w szał, jeśli choć na chwilę wymknęła się spod nadzoru; moja zazdrość utraciła swą minutową podziałkę). Ale gdyby odpowiedź miała nadejść zamiast jej przyjazdu, gotów byłem po Albertynę pojechać i po dobroci albo też siłą wyrwać ją z objęć tych przyjaciółek. Czyż zresztą nie było lepiej udać się tam samemu, teraz, kiedy ku swemu zdumieniu odkryłem, jak nik-

czemnym człowiekiem był Saint-Loup? Skąd pewność, że to nie on uknuł intrygę, by rozłączyć mnie z Albertyną?

Gdybym jej teraz napisał to, co wcześniej nieraz powtarzałem w Paryżu, że nie chcę, by jej się przytrafiło co złego, byłbym skłamał. Może to ja się zmieniłem, a może po prostu nie brałem pod uwagę, że coś tak nieprawdopodobnego naprawdę może nas spotkać. Myślałem, że gdyby do tego doszło, moje życie zostałoby oczyszczone z ustawicznie zatruwającej je zazdrości i z miejsca odzyskałbym, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój, bo cierpienie straciłoby moc.

Cierpienie straciłoby moc? Czy naprawdę w to wierzyłem? Czy mógłbym pomyśleć, że śmierć, przekreślając tylko cierpienie, całą resztę pozostawi w stanie niezmienionym, że z serca usunie tylko ból, którego przyczyną było samo istnienie tej drugiej osoby? Czy spodziewałem się, że po usuniętym bólu zostanie puste miejsce? Cierpienie miałoby stracić moc! Gdy przeglądałem w gazecie opisy wypadków, zauważyłem, że nie mam odwagi Swanna, który swoje życzenie wyraził wprost. Jeśli Albertyna miałaby wypadek i przeżyła, zaistniałby powód, bym do niej przybiegł, gdyby zaś zginęła, odzyskałbym, jak się wyraził Swann, radość życia. Ale czy w to wierzyłem? On wierzył, choć był to człowiek wrażliwy i pewien swej samowiedzy. Jakże niewiele wiemy o tym, co kryje nasze serce! W jakiś czas później, gdyby żył jeszcze, mógłbym go zapewnić, że jego życzenie, jakkolwiek zbrodnicze, było przede wszystkim niedorzeczne i że śmierć tej, którą kochał, nie przyniosłaby mu ani śladu ulgi!

Wyzbyłem się wobec Albertyny resztek dumy, wysłałem do niej rozpaczliwy telegram, w którym prosiłem, by wracała czym prędzej, i nie stawiałem żadnych warunków: pozwolę jej robić, co zechce, nie żądam nic więcej, niż móc ją całować, kiedy będzie się kładła spać, przez minutę, trzy razy w tygodniu. Gdyby odpowiedziała, że tylko raz, przystałbym i na to.

Nie wróciła nigdy. Ledwie mój telegram został nadany, przyniesiono inny. Wysłała go pani Bontemps. Świat nie ma w sobie nic stałego, nie został stworzony raz na zawsze. W życiu każdego z nas pojawiają się zdarzenia zaskakujące, nieprzewidziane. Ach, mój ból wcale nie ucichł, gdy spojrzałem na pierwsze zdania tej depeszy:

„Mój biedny przyjacielu, nie ma już naszej Albertynki. Proszę nie winić mnie za tę straszną wiadomość, którą przesyłam, wiedząc, jak bardzo ją Pan kochał. Koń poniósł i rzucił nią o drzewo podczas przejażdżki wzdłuż brzegów Vivonne.<sup>1434</sup> Nasze wysiłki, by ją ratować, na nic się nie zdały. Ach, czemuż śmierć jej nie oszczędziła, czemuż raczej mnie nie zabrała!”

Nie, cierpienie nie straciło nic ze swej mocy, przybrało tylko nową formę: zaczynałem pojmować, że ona już nie wróci. Ale czyż nie powtarzałem sobie tego po wielokroć, że może nie wróci już nigdy? Owszem, teraz jednak wyszło na jaw, że nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Potrzebowałem bliskości Albertyny, jej pocałunków, by znieść męki zazdrości, więc przywykłem od czasów Balbec mieć ją zawsze przy sobie. Kiedy wychodziła z domu i zostawałem sam, mogłem być pewny, że będę ją znowu trzymał w ramionach. Byłem tego pewny jeszcze wówczas, gdy wyjechała do Turenii. Nawet jej wierność nie była dla mnie aż tak ważna, jak pewność, że ona wróci. I jeśli rozsądek w akcie samowoli podawał ten powrót w wątpliwość, wyobraźnia ani na chwilę nie ustawała w tworzeniu jego obrazów. Odruchowo położyłem dłoń na szyi, dotknąłem warg, pamiętających jej pocałunki, złożone, zdawałoby się, już po rozstaniu, pocałunki, których nie miałem zaznać nigdy więcej. Takim samym ruchem matka pogłaskała mnie po śmierci babki, mówiąc: „Biedny mały, twoja babka, która tak bardzo cię kochała, już nigdy cię nie pocałuje”. Te słowa: „wzdłuż brzegów Vivonne”, nadały mojej rozpachy jakiś straceńczy ton. Albowiem zbieżność między uczynionym mi w wagoniku kolejki wyznaniem, że zna dobrze pannę Vinteuil, a kierunkiem, jaki obrała, gdy ode mnie uciekła, wydała mi się nieprzypadkowa. Albertyna znalazła schronienie, a potem śmierć, w okolicach Montjouvain, i nagły błysk zrozumienia połączył w moim umyśle owo Montjouvain, wspomniane przez nią w wagoniku, z rzeką Vivonne, którą pani Bontemps bezwiednie wplątała w treść depeszy. Tego

<sup>1434</sup>wzdłuż brzegów Vivonne — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

samego wieczoru, kiedy byłem u państwa Verdurin i kiedy powiedziałem Albertynie, że zamierzam się z nią rozstać, ona mnie okłamała!<sup>1435</sup>

Cała przyszłość została nagle wyrwana z mojego, serca. Ale jaka przyszłość? Czyżbym nigdy nie pomyślał o życiu bez Albertyny? Nigdy, skądże! Czyż dawno już nie ofiarowałem jej wszystkich chwil, jakie przyjdzie mi przeżyć aż do śmierci? Ależ tak! Ta przyszłość, której nieodłączną częścią była Albertyna, trwała we mnie w utajeniu i dopiero na widok wyrwy, którą po sobie zostawiła, pojąłem, jak wiele miejsca zajmowała kiedyś w moim opustoszałym sercu. Franciszka, o niczym jeszcze nie wiedząc, zajrzała do mojego pokoju.

— Co znowu?! — wykrzyknąłem z wściekłością.

Wówczas — bo bywa, że w miejsce tego, co uważaliśmy za rzeczywistość, ktoś nam podsunie rzeczywistość zgoła odmienną, przyprawiając o zawrót głowy — te słowa padły z jej ust:

— Nie trzeba się tak gniewać. Na odwrót, powinien się panicz bardzo ucieszyć. Są tu dwa listy od panny Albertyny.

Z pewnością miałem w tamtej chwili spojrzenie człowieka odchodzącego od zmysłów. Nie było we mnie ani szczęścia, ani niedowierzania. Czułem się jak ktoś, kto w swoim pokoju dostrzega jednocześnie, w tym samym miejscu, kanapę i ciemną czeluść. Ani jedno, ani drugie nie wyda mu się już rzeczywistością, po prostu osunie się bez czucia na podłogę. Widocznie obydwa listy zostały napisane na krótko przed konną przejażdżką, z której nie wróciła żywa. A oto pierwszy z tych listów:

„Mój Drogi, jestem ci wdzięczna za zaufanie, z jakim powiadamiasz mnie o swoim zamiarze sprowadzenia do siebie Anny. Jestem pewna, że przyjmie to z radością i będzie bardzo uszczęśliwiona. Jest obdarzona zdolnościami, które pod opieką kogoś takiego jak Ty potrafi pięknie rozwinąć, korzystając z niezwyklej siły oddziaływania Twojej osobowości na każdego, kto znajdzie się w pobliżu. Myślę, że to doskonały pomysł, który przyniesie wiele dobrego wam obojemu. A w razie jakichkolwiek kłopotów z Anną (choć myślę, że ci one nie grożą) zadeszuj do mnie, obiecuję na nią wpłynąć”.

Drugi list nosił datę o dzień późniejszą. W rzeczywistości mogła je napisać nawet równocześnie i pierwszy z nich antydatować. Nie ustawałem w najniedorzeczniejszych próbach przypisania jej intencji powrotu, choć każdy dyplomata, który zdobył doświadczenie w rokowaniach pokojowych, każdy kupiec rozważający warunki transakcji umieliby ocenić moją sytuację beznamytnie, a zatem trafniej ode mnie. Ten list był krótki:

„Czy nie jest za późno, żebym do Ciebie wróciła? Zechcesz mnie przyjąć z powrotem, jeśli jeszcze nie napisałeś do Anny? Zrobię, co postanowisz, proszę jedynie, byś jak najprędzej dał mi znać. Pomyśl o tym, jak niecierpliwie oczekuję Twojej odpowiedzi. Jeśli zdecydujesz, że mogę wrócić, wsiadam w pierwszy pociąg. Twoja całym sercem, Albertyna”.

Śmierć Albertyny wtedy jedynie odebrałaby moc mojemu cierpieniu, gdyby dosięgła ją nie tylko w Turenii, ale i we mnie. A przecież we mnie Albertyna była teraz tak żywa jak jeszcze nigdy. Żeby zagościć w nas na stałe, ludzka istota musi przyjąć stosowny kształt, nagiąć się do ram pamięci; będzie się nam bowiem mogła ukazywać tylko w migawkowych ujęciach, za każdym razem pozostawiając chwilowy wizerunek, pojedynczą kliszę. Ta słabość, skazująca ją na trwanie w postaci zbioru luźnych obrazków, jest zarazem jej wielką siłą. Ludzka istota jest bowiem zależna od pamięci, a pamięć chwili nie wie nic o tym, co się zdarzyło później. Mglenie obrazu niezmiennie istnieje i żyje, a wraz z nim żyje człowiek, którego postać powieliły odbicia. W tych rozproszonych, a przy tym zwielokrotnionych obrazach wracają do życia zmarli. Toteż doznałbym ulgi dopiero wówczas, gdybym zapomniał nie jedną jedyną, ale nieprzeliczone szeregi Albertyn. Lecz kiedy tylko uporałem się z żalobą po którejś z nich, jej miejsce od razu zajmowała inna, setki innych.

Wszystko się w moim życiu zmieniło. Moja samotność niosła mi drobne radości, nie związane z Albertyną, płynące raczej z nieustannego odradzania się minionych chwil, wywoływanych z niepamięci błahymi zdarzeniami czasu teraźniejszego. W szumie deszczu powracał do mnie zapach bzów z Combray; w słonecznych smugach sunących po balkonie — gruchanie gołębi z Pól Elizejskich; w przedpołudniowym upale, tłumiącym miejski

<sup>1435</sup> Te słowa: „wzdłuż brzegów Vivonne” (...) ona mnie okłamała — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

zgiełk — świeżość czereśni; tęsknota za Bretanią lub za Wenecją budziła się pod wpływem silnego wiatru albo nadchodzącej znów Wielkanocy. Zbliżało się lato, dni były coraz dłuższe i gorętsze. Był to czas, kiedy uczniowie i korepetytorzy, pogrążeni w ostatnich przygotowaniach do egzaminów maturalnych, przesiadują od rana w miejskich ogrodach, w cieniu drzew, by spić jedyną kroplę świeżości, jaką wytoczy niebo, nim zapłonie żarem pełnego dnia, już nawet o tej wczesnej porze jałowo czyste. W ciemni mojego pokoju władałem tą samą co przed laty mocą wywoływania obrazów zewnętrznego świata, teraz jednak przynosiła mi ona tylko ból, gdy wyczuwałem ciężar powietrza, w którym słońce, chyląc się ku zachodowi, malowało płaszczyzny fasad domów i kościołów wypłowiałą ochrą. Jeśli zaś krzątając się po pokoju, Franciszka poruszyła przypadkiem obfite fałdy zasłon, przesywał mnie promień niedysyjszego słońca, zdolny wyrwać mi z gardła zduszony okrzyk, i padał na piękny nowy fronton kościoła w Bricqueville, w chwili gdy Albertyna mówiła: „Został odnowiony”. Nie wiedząc, jak wytłumaczyć Franciszce ten jęk, powiedziałem po prostu: „Mam pragnienie”. Wyszła, a gdy znów się pojawiła, gwałtownie odwróciłem się do ściany pod gradem wspomnień, które raz po raz rozświetlały otaczający mnie cień. Dostrzegłem kątem oka przyniesiony przez nią jabłecznik i czereśnie, takie, jakie w Balbec podawał nam do powozu chłopiec z fermy. Ich smak łączył się w mojej pamięci w sposób najdoskonalszy z tęczą ciemnością chłodnych jadalni, do których nie dociera jaskrawość upalnego dnia. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o fermie Ecorres, o tym, jak Albertyna zapowiadała mi w Balbec, że jutro nie będzie miała dla mnie czasu, bo musi towarzyszyć ciotce; być może wybierała się wtedy z którąś ze swoich przyjaciółek do innej fermy, wiedząc, że nigdy tam nie bywam, i kiedy na wszelki wypadek czekałem w „Marii Antoninie”, gdzie zapewniali mnie, że jej nie widzieli, ona szeptała przyjaciółce te same słowa co mnie, kiedyśmy wychodzili we dwoje: „Nie przyjdzie mu do głowy nas tutaj szukać, nie będzie nam się naprzykrzał”. Poprosiłem Franciszkę, żeby zasłoniła okno; chciałem, by zniknął ten promień słońca. Lecz on wdarł się już do mojej pamięci, równie natrętny jak przedtem. „Nie podoba mi się, bo jest odnowiony, ale jutro możemy pojechać do Saint-Martin-le-Vêtu, a pojutrze...” Jutro, pojutrze: otwierają się nieskończone przestrzenie wspólnego życia, ku któremu rwie się moje serce, ale to się już nie ziści, Albertyna nie żyje.

Spytałem Franciszkę o godzinę. Szósta. Nareszcie, dzięki Bogu, skończy się duchota letniego popołudnia, na którą kiedyś narzekaliśmy z Albertyną i którą mimo to lubiliśmy oboje. Dzień dobiegał kresu. Ale cóż mi z tego? Pod wieczór upał dawał za wygraną, zachodziło słońce. W drodze powrotnej, którą przemierzaliśmy razem w mojej pamięci, za najdalszą stacją kolejki zdawała się leżeć jeszcze jedna, tak daleka, że niedostępna dla nas owego wieczoru, kiedy mieliśmy, wciąż jeszcze razem, wysiadać w Balbec. Wtedy jechaliśmy we dwoje, a teraz musiałem gwałtownie zahamować przed otchłanią — ona nie żyła. Story nie wystarczyły. Musiałbym zasłonić oczy, zatkać uszy mojej pamięci, żeby nie widzieć tej czerwonej smugi zachodu, nie słyszeć tych niewidocznych ptaków, przekrzykujących się od drzewa do drzewa ze wszystkich stron wokół mnie, całującego zapamiętałe tę, która teraz już nie żyła. Musiałbym wyrzucić z pamięci wieczorny zapach wilgotnych liści, emocje szalonej jazdy to pod górę, to w dół. Lecz cały już byłem w ich władaniu, zabląkany gdzieś daleko od chwili obecnej, bezbronny wobec impetu uderzającej we mnie wciąż na nowo myśli, że Albertyna nie żyje. Ach, nigdy już nie pójdę do lasu, nie będę spacerował pośród drzew. Czy jednak pola okażą się mniej dla mnie bezlitosne? Ileż razy przemierzałem pola Cricqueville, idąc po Albertynę, ileż razy wracałem razem z nią tą samą drogą, niekiedy wśród mgieł, które zasnuwały wszystko wokół, i wydawało się nam, że brniemy otoczeni wodami bezbrzeżnego jeziora; kiedy indziej wieczór był rozświetlony jasnym blaskiem księżyca, który nadawał światu postać nierzeczywistą, na odległość dwóch kroków nasycając ziemię odcieniami nieba, jakie za dnia miewa ona jedynie w najdalszej dali — i pola łączyły się w jedno z niebiosami, zamknięte wraz z nimi w agatowej kapsule pożyłkowanej wszystkimi odcieniami błękitu!

Franciszkę ucieszyła zapewne śmierć Albertyny. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: swoiste rozumienie konwensu i wrodzone poczucie taktu powstrzymało ją przed udawaniem smutku. Lecz niepisany kanon wywiedziony ze średniowiecza, dziedzictwo pokoleń wieśniaczek, które przelewały łzy nad losami bohaterów pieśni, dawał w niej pierwszeństwo odruchom starszym i głębiej zakorzenionym niż nienawiść do Albertyny, a na-



wet do Eulalii. Toteż któregoś z tych dni u schyłku popołudnia, gdy nie zdążyłem ukryć przed nią oznak cierpienia, dostrzegła moje lzy. Miała swój instynkt prostej chłopki, ten sam, który w innych okolicznościach objawiał się okrucieństwem wobec zwierząt, satysfakcją, z jaką ukrecała głowy kurczętom i homary wrzucała żywcem do wrzątku; kiedy zaś byłem niezdrów, instynkt ten kazał jej wpatrywać się we mnie z uwagą, niczym w sowę, którą zraniła rzucając kamieniem, przy czym o moim mizernym wyglądzie nigdy nie omieszkala się wypowiedzieć tonem żalobnym, jakby przepowiadała nieszczęście. Ale ów kodeks wyniesiony z Combray nie pozwalał bagatelizować rozpacz i łez, które uważała za szkodliwe przynajmniej tak samo, jak chodzenie bez ciepłej bielizny albo brak apetytu.

— O, nie, paniczu — powiedziała mi. — Nie wolno płakać. To by paniczowi mogło zaszkodzić.

A gdy rzuciła się tamować moje lzy, zdradzała takie przerażenie, jakby miała do czynienia z krwią lejącą się strumieniami. Niestety, czym prędzej skryłem się za chłodnym spojrzeniem i uciałem przejawy serdeczności, być może szczerzej. Z Albertyną sprawy miały się dla niej zapewne tak samo jak z Eulalią: teraz, kiedy moja przyjaciółka nie mogła już niczego ode mnie „wycygnąć”, gniew Franciszki wygasł. Musiała jednak przede wszystkim dać mi do zrozumienia, że dostrzegła moje lzy i że nie pochwała obyczajów tej rodziny, którym hołdowałem, czyniąc wysiłki, by „niczego po sobie nie pokazać”.

— Nie trzeba płakać, paniczu — powtórzyła łagodniejszym tonem, raczej dla opisania się spostrzegawczością, niż po to, by dać wyraz współczuciu. I dodała: — Musiało się tak skończyć, bo spotkała ją zbyt wielka łaska, której nie umiała biedaczka docenić.

Jakże powolną śmiercią umiera dzień w takie nie znające miary ani kresu letnie popołudnia. Bezcielesne widmo kamienicy z naprzeciwka przez długie godziny niezmiennie rozmywało się na tle nieba płamą upartej bieli. Lecz w końcu i tak zapadała noc i ogarniała pokoje; potykałem się o meble w mroku korytarza i tylko w oszklonych drzwiach prowadzących na schody, w samym sercu ciemności, która wydawała mi się absolutna, jaśniała niebieskawo szyba o barwie kwiatu i przejrzystości owadziego skrzydła; zachwyciłbym się może pięknem czystego błękitu, gdybym nie czuł, że oto w ostatnim przeblysku, ostrym jak lśnienie stali, gasnący dzień zadawał mi w swym niezmordowanym okrucieństwie ostateczny cios.

A jednak w końcu świat pogrążał się w zupełnej ciemności. Lecz wtedy dość mi było jednej gwiazdki nad drzewem rosnącym na podwórku, bym przypomniał sobie wieczorne przejażdżki powozem do lasu Chantepie, wyścielanego księżycową poświatą. I nawet w zgiełku ulic zdarzało mi się pochwycić na oparciu jakiejś ławki, zabłąkany między sztuczne światła paryskie, pełen prostoty promień księżycy, obdarzony mocą zdolną na krótką chwilę przenieść mnie wraz z całym miastem na łono natury, w sam środek bezbrzeżnej ciszy pól, wśród których czekało na mnie nabrzmiałe bólem wspomnienie spacerów z Albertyną. Ach, kiedyż wreszcie noc się skończy? Ale o chłodzie pierwszego brzasku zaczynałem drżeć, gdyż powracało pogodne wspomnienie tamtego lata, kiedy aż do świtu odprowadzaliśmy się nawzajem od Incarville do Balbec i od Balbec do Incarville. Jedyna moja nadzieja — rozdzierająca bardziej od niepokoju — była w tym, że kiedyś zapomnę Albertynę. Wiedziałem, że zapomnę, bo przecież zapomniałem już dawno Gilbertę i panią de Guermantes, zapomniałem nawet moją babkę. To dla nas najsprawiedliwsza i najokrutniejsza kara za cichą jak grób niepamięć, pochłaniającą bez śladu tych, których już nie kochamy: że oto innych, których kochamy, czeka równie nieuniknione zapomnienie. Po prawdzie wiedziałem i o tym, że ów stan obojętności jest bezbolesny. Lecz nie mogłem pogodzić w sobie wyobrażeń tego, kim byłem i kim się jeszcze stanę, i żalowałem otoczki z pocałunków, pieszczot i słodkich snów, którą niebawem przyjdzie mi utracić. Nurt wspomnień przepelnionych siłą i tkliwością zatrzymywała myśl, że Albertyna nie żyje, ja zaś, udręczony w zamęcie sprzecznych pobudek, ani przez chwilę nie mogłem usiedzieć w bezruchu. Zrywałem się, lecz znowu siadałem, wpadłszy na niewidoczną przeszkodę. Świt, taki sam jak tamten, który widział mnie wychodzącego od Albertyny, rozpromienionego i gorącego jeszcze od jej pocałunków, teraz groził mi zza stor zimnym i twardym blaskiem, raniącym jak cios noża.

Wkrótce miał powrócić zgiełk uliczny, którego ton podnosi się z narastaniem letniej gorączki, tak że na skali jego brzmienia można odczytać, ile stopni ciepła przybyło

od rana. W skwarze, który parę godzin później miał przesiąknąć wonią czereśni, zamiast powabu innych kobiet odnajdę smutek po utracie Albertyny — jak to bywa z lekarstwem, w którym wystarczy jeden składnik zastąpić innym, by środek pobudzający zamiast euforii wywołał depresję. Każde z moich pragnień i tak było do głębi przesiąknięte jej wspomnieniem, pamięcią wszystkich rodzajów cierpienia i rozkoszy. Sądziłem, że gdybym się wybrał do Wenecji, jej obecność będzie mi ciężarem (zapewne jakoś przeczuałem, że nie umiałbym się bez niej obejść), teraz zaś, kiedy Albertyny już nie było, straciłem ochotę do podróży. To w Albertynie bowiem zdawało się zawierać wszystko, czego mógłbym zapragnąć, niby w naczyniu, z którego łaskawie pozwalała mi czerpać, i to ona nie dawała mi nasycić się życiem do woli. Teraz naczynie leżało rozbite, ja zaś nie miałem dość sił, by sięgnąć po jego skarby, bo też nie było już nic, na czym mogło mi zależeć; zdruzgotany, odwróciłem się od przyjemności życia. Tak przeto zniknięcie Albertyny nie otworzyło przede mną ogrodu rozkoszy, którego brama, jak wierzyłem, zatrzasnęła się z jej przyczyny. Kiedyś jej obecność była mi przeszkodą w podróżach, w używaniu życia i nie widziałem, że przesłania ona — jak to zwykle bywa — inne, rzeczywiste przeszkody, które objawiły mi się, gdy ta została usunięta. Dlatego właśnie zdarzało się nieraz — po czyjejs milej wizycie, dla której odłożyłem pracę — że nazajutrz, będąc już sam, tym bardziej nie byłem w stanie pracować. W pewnych chwilach — w chorobie, podczas pojedynku albo gdy konie poniosły — zaglądamy śmierci w oczy i wówczas bogactwo życia wydaje się nam godne pożądania; przypominamy sobie o utraconych rozkoszach, o wspaniałych podróżach, które już nie będą nam dane. Lecz niech tylko minie niebezpieczeństwo, powracamy do bezbarwnej, powszedniej rutyny, wyzutej z tych wszystkich cudowności.

Krótkie letnie noce kończą się wraz z latem. Kiedyś musi nadejść zima, ona zaś nie będzie mi przypominać spacerów z Albertyną o niewiarygodnie wczesnym świcie. Ale czy pierwsze przymrozki nie wrócą mi przechowanego w nienaruszonym stanie, niczym w tafli lodu, nie rozwiniętego jeszcze załączka moich żądz? W taką bowiem pogodę posłałem po nią kiedyś o północy, i czas niemiłosiernie mi się dłużył, gdy nasłuchiwałem jej dzwonka, na który teraz mógłbym czekać daremnie przez całą wieczność. Czy nie przypomniał mi moich niepokojów, które dosięgły mnie wtedy po raz pierwszy, każąc mi owego wieczoru dwa razy porzucić nadzieję, że ona jeszcze przyjdzie? Wtedy widywałem ją z rzadka, ale nawet te długie przerwy między jedną i drugą wizytą Albertyny wylaniającej się po tygodniach nieobecności z głębin swego życia, o którym nic nie wiedziałem i które nie poddawało się mojej woli, przynosiły mi ukojenie, bo zazdrość, jeszcze nie dość dojrzała, wciąż na nowo zatrzymywana w rozwoju, nie miała kiedy okrzepnąć i ugruntować się w moim sercu. Te okresy nieobecności, choć w owym czasie wpływały na mnie uspokajająco, we wspomnieniach wydawały mi się naznaczone udręką, albowiem teraz nie były mi już obojętne te nieodgadnione sprawy, które ją wówczas pochłaniały, kolejne odwiedziny stały się zaś na zawsze już niemożliwe. Toteż styczniowe wieczory, kiedy do mnie przychodziła i kiedy spędzałem z nią tak rozkoszne chwile, przejmowały mnie teraz chłodem północnego wiatru; te mroźne dni przechowały w sobie zakonserwowany pod warstwą lodu załączek mojej późniejszej miłości, teraz jednak skażony nie znaną mi wówczas trwogą. Przygotowywałem się na nadejście chłódów. Pora ta od czasów Gilberty i zabaw na Polach Elizejskich zawsze wydawała mi się bezgranicznie smutna. Spodziewałem się powrotu wieczorów takich jak tamten, kiedy padał śnieg i przez pół nocy czekałem na próżno na Albertynę. Byłem jak chory, patrzący na otoczenie pod kątem swych obolałych płuc — i ze względu na moje rozdarłe serce obawiając się styczniowych chłódów, mówiłem sobie, że może najtrudniej przyjdzie mi przetrwać zimę.

Tak oto uwikłany byłem w zjawiska atmosferyczne wszystkich czterech pór roku; by wyrzucić z pamięci Albertynę, musiałbym najpierw zapomnieć, jak wygląda świat, musiałbym zacząć się go uczyć od nowa niczym porażony udarem mózgu pacjent, który wracając do zdrowia, uczy się stawiać litery. Zostałem sam i po jej śmierci już tylko moja własna mogła mi przynieść ulgę, ale ona właśnie wydawała się nieprawdopodobna. Nie wiedziałem wtedy, że śmierć jest rzeczą nie tylko zawsze możliwą, ale i powszednią; umieramy, bezwiednie i bezwolnie, dzień po dniu. Miały więc nadal nękać mnie swymi nawrotami kolejne fale dni niosących wszystkie odmiany aury i wpisanych nie tylko w cykl natury, lecz także w umowy i sztuczny porządek kalendarza. Coraz bliższa była

data, od której zaczęły się zeszłego roku moje wakacje w Balbec — gdzie moja miłość, jeszcze nie spleciona nierozzerwalnie z zazdrością, niewiele troszczyła się o to, co Albertyna robi przez cały dzień. Uczucie to miało przejść jeszcze wiele przemian, nim przybrało swój ostateczny kształt, do pierwotnego zgoła niepodobny. Ostatni rok, podczas którego odmienił się i dokonał los Albertyny, był w moich oczach wypełniony po brzegi zdarzeniami, zmienny i rozległy niczym stulecie. A potem miały przyjść dni należące do następnych miesięcy, lecz przeze mnie przeżyte w jeszcze bardziej zamierzczym czasie: dżdżyste niedziele z poprzednich lat. Mimo niepogody wszyscy wychodzili z domu prosto w pustkę słotnego przedpołudnia, lecz mnie wycie wiatru i szum deszczu skłaniały do przesiadywania pod dachem, w roli „mędrca czterech ścian”. Z jakimż poruszeniem będą oczekiwał godziny, kiedy tak dla mnie nieoczekiwanie zjawiała się Albertyna i po raz pierwszy zaznałem jej czułości, przerwanych znienacka przez Franciszkę, która wniosła lampę — w owej martwej już epoce, martwej podwójnie, bo wówczas Albertyna była mnie jeszcze ciekawa, a przed moją miłością otwierała się nadzieja bez granic! I nawet olśniewające zmierzchy kolejnych tygodni — gdy zastępy półbogiń wysypywały się, ni- by przez uchylone wrota świątyń, z biur, kancelarii i żeńskich szkół, by rozświetlić ulice złocistym blaskiem, i tocząc swe rozmowy tuż obok mnie, budziły gorączkową żądzę wtargnięcia w ich mityczną egzystencję — teraz przypominały mi tylko tkliwą bliskość Albertyny, z której powodu nie mogłem uczynić ani kroku w ich stronę.

We wspomnieniach tłem każdej zwykłej chwili jest właściwy jej i jedyny w swoim rodzaju pejzaż wewnętrzny, wnoszący jakiś rys wyjątkowy, niepowtarzalny. Jeśli więc w czasie jeszcze późniejszym, z początkiem wiosny, usłyszę pasterską fujarkę, ciepły dzień przesycony świetlistością niemalże wloską zabarwi się niepokojem z powodu Albertyny, która poszła do Trocadéro, by spotkać się tam, być może, z Leą i jej dwiema młodymi przyjaciółkami; potem zaś na dzień ów spłynie łagodny spokój, bo Albertyna pozwoliła się Franciszce przyprowadzić do domu, oddana i pokorna, jakby była mi poślubiona — i wprawi mnie tym w oszołomienie. Ową przekazaną mi przez telefon deklarację posłuszeństwa Albertyny, zdecydowanej wracać razem z Franciszką, wzięłem wówczas za tytuł do chwały. Ale myliłem się. Jeśli uległem odurzeniu, wywołało je właśnie poczucie że ta, którą kocham, należy tylko do mnie, że dla mnie bije jej serce, że nawet z dala ode mnie, wolna od wszelkiego przymusu, uznaje we mnie pana i władcę; że gotowa jest przybiec na każde moje skinienie. Tak oto za sprawą telefonu upajający powiew dotarł do mnie z dalekiej dzielnicy Trocadéro, gdzie biło źródło mojego szczęścia i rozpyłało swe uśmierzające esencje, kojące balsamy, od których zrobiło mi się tak lekko na sercu, jak nigdy przedtem — i mogłem bez cienia niepokoju pozwolić się nieść muzyce Wagnera, w oczekiwaniu, wcale nie gorączkowym, na przybycie osoby zwanej Albertyną, które, już przesądzone, do tego stopnia nie budziło we mnie obaw, że nie byłem nawet świadom własnego szczęścia. Radość, że ona wraca, że jest mi posłuszna i że należy tylko do mnie, zrodziła się z miłości, nie zaś z pychy. Choćbym miał na swe usługi pięćdziesiąt kobiet gotowych na pierwsze skinienie przybiec do mnie nie z Trocadéro, ale bodaj z dalekich Indii, niewiele by mnie to obeszło. Tamtego jednak dnia wiedziałem, że podczas gdy w samotności wsłuchuję się w dźwięki muzyki, Albertyna już ku mnie zmierza, posłuszna mojej woli, a w powietrzu, którym oddychałem, zdawała się unosić, lekko jak pył wirujący w słonecznym świetle, owa substancja w szczególny sposób wzmacniająca ducha, tak jak inne wzmacniają ciało. Potem, po pół godziny, zjawiała się Albertyna, i tegoż dnia wybrałem się z nią jeszcze na spacer. Ale jej towarzystwo, tak samo jak ta przechadzka, wydawało mi się nużące, dlatego zapewne, że nie opuszczało mnie wtedy beztrudne poczucie pewności. Ono to właśnie, od chwili, gdy Franciszka oznajmiła mi przez telefon, że wraca z Albertyną, wlało złoty spokój we wszystkie godziny popołudnia; i wykroił się z nich dzień dodatkowy, różniący się od tego pierwszego podszewką ukrytej treści, która czyniła go nowym i niezwykłym w długim szeregu wszystkich innych, jakie dotąd przeżyłem, nawet się go nie spodziewając — bo nie zdolalibyśmy przecież wyobrazić sobie ciszy letniego dnia, gdyby takiego nie było w długim szeregu wcześniejszych. Nie mogłem jednak powiedzieć, że pamiętam tamten dzień; jego pogodny spokój z czasem zatruło bowiem cierpienie, którego wtedy

jeszcze nie odczuwałem. Znacznie później, kiedy krok po kroku odbyłem swą drogę powrotną ku czasom, które nie znały jeszcze mojej miłości do Albertyny, a zabliznione serce było już zdolne, nie cierpiąc nadmiernie, rozstać się z umarłą — zacząłem wreszcie bez bólu wspominać ów dzień, kiedy to Albertyna towarzyszyła Franciszce przy sprawunkach, zamiast zostać w Trocadéro; i dopiero wtedy mogłem naprawdę cieszyć się tym dniem, należącym do nie znanej mi wcześniej wewnętrznej pory roku. W końcu przypomniałem go sobie ze wszystkimi szczegółami, bo nie przesłaniało ich już nawet cierpienie; w taki właśnie sposób wracają do nas niektóre letnie dni: są nieznośnie upalne, póki trwają, lecz ich ekstrakt okazuje się później osadem najczystszej złota i niezmaconego lazuru.

Nabrzmiałe bólem wspomnienie Albertyny lata powlekły patyną nowych barw i odcieni, przysypały je popiołem chwil, prochem, w jaki obróciły się lipcowe popołudnia i zimowe wieczory, odbłask księżycy na falach i powroty do domu o świcie, paryski śnieg i zeschnięte liście w Saint-Cloud. A wraz ze wspomnieniem Albertyny zmieniły się także wyobrażenia, jakie z nią wiązałem: o tym, jak wyglądała w każdej z tych minionych chwil, o większej lub mniejszej częstotliwości spotkań w różnych okresach naszego życia, których substancja w związku z tym wydawała mi się mniej lub bardziej zagęszczona; o niepokojach, jakie wznicało we mnie oczekiwanie, o tym, czy ona była wtedy pod moim urokiem, o nadziejach, które rodziły się i umierały. Mój zanurzony w przeszłości smutek ulegał przemianom, tak samo jak gra zapachów i światła, zachowana w pamięci, i każdy przeżyty przeze mnie rok astronomiczny dopełniał się melancholią, już choćby dlatego, że kolejne wiosny, lata, jesienie i zimy przynosiły mi żalobne wspomnienia o niej. Jak gdyby moim życiem rządził, niewidoczny spoza kartek zwykłego kalendarza, kalendarz uczuć, który upływu czasu nie odmierzał położeniem Ziemi wobec Słońca, lecz oczekiwaniem, jakie w każdej chwili dzieliło mnie od najbliższego spotkania. Sezonowe wahania długości dnia i intensywności nasłonecznienia zastępował on wzlotami moich nadziei, pogłębianiem się naszej zażyłości, stopniowymi zmianami w jej wyglądzie, podróżami, w które się wyprawiała, częstością i wymową listów, pisanych do mnie z daleka, oraz większą lub mniejszą skwapliwością, z jaką po powrocie składała mi wizytę. Toteż jeśli każdy z tych okresów i dni zawarł w sobie odmienny wizerunek Albertyny, to nie tylko dlatego, że skłaniały mnie do porównywania podobnych epizodów. Od zawsze przecież, nawet wtedy gdy jeszcze jej nie kochałem, odmianę przynosiły mi procesy mojej własnej wyobraźni i czyniły coraz to innym człowiekiem, goniącym za coraz to nowym mirażem — kimś, kto po nocy koszmarów pełnych sztormowych fal bijących o skały złowił w nozdrza zapach róż, sączący się o rozbuchanym wiosennym poranku wszystkimi szczelinami snu; kimś, kto obudzony tym zapachem gotów jest choćby zaraz wyruszyć w podróż do Włoch. Nawet w miłości zmienne nastroje i wahania ciśnień moich własnych mniemań mogły pewnego ranka zasnuć mgłami pejzaż uczuć, zaś następnego, w czystym powietrzu, roztaczały się przede mną cudowne perspektywy i cały świat śmiał się do mnie; jeszcze kiedy indziej zaś zbierały się nad nim burzowe chmury. Jesteśmy tylko tym, co posiadamy, a posiadamy to jedynie, co nas otacza; tymczasem nasze wspomnienia, uczucia i myśli błędzą nieraz tak daleko od miejsca, w którym jesteśmy, że znikają nam z oczu. Nie możemy ich wtedy uwzględnić w rachunku, którego suma opisuje nas samych. Uczucia znają jednak tajemne drogi powrotne. W niektóre wieczory zasypiałem już prawie bez żalu po Albertynie — żałować wszak możemy tylko tego, co jeszcze pamiętamy; lecz gdy budziłem się po nocy, najczystsze wody mojej świadomości unosiły wielką flotyllę wspomnień, a widoczność była wyborna. Zalewałem się łzami wobec tak przejrzystego obrazu tego, co wczoraj było już pogrążone w nicości. Imię Albertyny i jej śmierć nagle nabierały nowego znaczenia, a jej zdrady znów okazywały się sprawą najdonioślejszej wagi.

Nie mogłem uwierzyć, że umarła, z mojej pamięci wylaniały się teraz przecież te same obrazy, które przeglądałem bez końca za jej życia. Widziałem Albertynę pochyloną nad kierownicą bicyklu w jakiś deszczowy dzień, gdy rozpędzona na owym kole, podobna mitycznym bohaterom, mknęła prosto przed siebie; albo też Albertynę z tych wieczorów, kiedy z butelką szampana jechaliśmy do lasu Chantepie: ślad gorączkowego rumieńca barwił błądź jej policzków, w głosie dźwięczała obca, prowokująca nuta; w ciemnym wnętrzu powozu nie rozpoznawałem jej twarzy, brałem ją więc w ramiona, by pochylić się wraz z nią ku smudze księżycowego światła — a teraz na próżno usiłowałem wywołać ten

obraz z ciemności nieskończonej i wiecznej. Aby odzyskać wolność, musiałbym unicestwić w swojej pamięci nie jedną Albertynę, lecz niezliczone jej wcielenia. Wszystkie one przypisane były do jakichś chwil noszących zatarte już daty, pod które na powrót przenosiło mnie to lub inne wspomnienie związane z Albertyną. Minione chwile nie zastygają w bezruchu. Zamknięte w pamięci, dalej płyną ku owej przyszłości, dawno już obrócone w przeszłość, i nas także unosi ich nurt. Nigdy nie całowałem Albertyny z dni deszczowych, gdy opinała się na niej nieprzemakalna peleryna; poprosiłbym ją, żeby zdjęła swój gumowy pancierz, i w tej scenie znalazłbym może coś z uroków miłości na szlaku, coś z połowego braterstwa. Ale to się już nie mogło wydarzyć, bo ona nie żyła. Nigdy też — nie chcąc sprowadzać jej na złą drogę — nie dałem po sobie poznać, że rozumiem, co ma na myśli, kiedy proponowała mi rozkosze, na jakie być może nie pozwoliłaby sobie z kim innym; teraz zaś ich właśnie pragnąłem do szaleństwa, lecz gdybym znalazł je u innej, nie doznałbym nic prócz rozczarowania. Mogłem jednak cały świat przewędrować w poszukiwaniu tej jedynej, od której chciałem je przyjąć, i nigdzie bym jej nie spotkał, bo jej nie było wśród żywych. Wydawało mi się, że trzeba tylko wybrać jedną z dwóch wykluczających się prawd, zdecydować, która z nich obowiązuje — do tego stopnia wiadomość o śmierci Albertyny, przesłana z nieznanego świata otaczającego jej życie w Turenii, nie dawała się pogodzić z moimi własnymi myślami, żądzami, z tęsknotą i rozszalałą zazdrością. Wobec tej barwnej różnorodności wspomnień, układających się w rejestr zdarzeń jej życia, wobec natłoku wzruszeń uwikłanych w owe zdarzenia i zdolnych wywoływać je z pamięci, naprawdę nie było łatwo uwierzyć, że Albertyna umarła. I natłok ten w istocie przebierał wszelką miarę, pamięć bowiem przechowała przeróżne porywy moich uczuć w całej ich złożoności. Nie tylko Albertyna zapisywała się w niej wieloma oderwanymi obrazami — ja sam także. Moja miłość do Albertyny nie była monolitem: z ciekawością tego, co obce, łączyła się w niej gorączka zmysłów; uczucia niemalże braterskie przemieniały się to w beznamiętny chłód, to znów w szaleńczą zazdrość. Zamiast jednego mężczyzny żyła ich we mnie cała armia, za romantycznymi kochankami defilowali bezduszni cynicy, za nimi zazdrońcy — lecz nawet wśród tych ostatnich nie było dwóch zazdrosnych o tę samą kobietę. Bez wątpienia właśnie ta różnorodność miała mi pewnego dnia przynieść uzdrowienie, na które nie czekałem, którego nie chciałem. W gromadzie każdą postać może zastąpić inna, tę zaś kolejna, i tak oto stopniowo, niepostrzeżenie, dokonuje się w nas całkowita przemiana, do której nie mogłoby dojść, gdyby natura ludzka była jednorodną całością. Złożoność moich uczuć i mojego życia wewnętrznego przysparzała mi coraz to nowych cierpień, mnożyła ich odmiany. Moje uczucia zawsze jednak można było zaliczyć do któregoś z dwóch rodzajów, albowiem cała moja wewnętrzna przestrzeń wypełniała się na przemian to ufnością, to falami zazdrosnych podejrzeń.

Jeśli z trudem przychodziło mi pojąć, że Albertyna, wciąż tak żywotna w moich myślach, choć chroniona, jak ja sam, podwójnym puklerzem czasu teraźniejszego i przeszłego, naprawdę umarła, to być może równie wielki był rozdźwięk między domniemanymi występkami Albertyny — dziś już do nich niezdolnej i wolnej nawet od win, bo pozbawionej zarówno ciała, które się nimi rozkoszowało, jak i ducha, który mógłby ich pragnąć — a rozmiarami mojego cierpienia. Błogosławiłbym zresztą to cierpienie, gdybym widział w nim przejaw pośmiertnej obecności tej, której w sensie fizycznym już nie było, nie zaś odbłask — także skazany na wygaszenie — wzruszeń, jakie przy niej przeżyłem. Skoro nie mogła już z nikim innym doznawać rozkoszy, nie rozpalilaby też we mnie zazdrości, gdyby miłość moja znalazła jakiegokolwiek inne ujście. Lecz znaleźć nie mogła, jej obiekt bowiem spotykałem jedynie we wspomnieniach, tam, gdzie Albertyna wciąż jeszcze żyła. Skoro dość mi było o niej pomyśleć, aby ją wskrzesić, to znaczyło, że żadna z jej zdrad nie umarła wraz z nią; miniona chwila, w której Albertyna dopuściła się zdrady, na powrót stawała się chwilą obecną, nie tyle dla Albertyny, ile dla któregoś z moich ja, przywołanego, by rozpamiętywało. Przy każdym występku tkwił wczepiony węń kurczowo, zawsze mu współczesny, godny pożalowania zazdrośnik: żadne przedawnienie nie mogło rozłączyć tej pary. W ostatnich miesiącach jej życia więziłem ją w swoim domu. Lecz Albertyna żyjąca w mojej wyobraźni była teraz wolna; zły użytek czyniła z tej wolności, oddawała się lada komu na prawo i lewo. Kiedyś martwiła mnie niepewna przyszłość, z jej mgieł próbowałem wyczytać, co nas czeka. Teraz miałem przed sobą jakiś inny, podmieniony egzemplarz przyszłości, równie niepokojącej, równie nie-

pewnej, tak samo trudnej do rozszyfrowania, pełnej tajemnic i jeszcze bardziej okrutnej — nie miałem bowiem nawet nadziei, że zdołam nań wpłynąć. Tym okrutniejszej, że obliczonej na tyle, ile miało jeszcze potrwać moje życie, toczące się bez Albertyny, choć tylko ona mogła ukoić cierpienia, których była przyczyną. Cokolwiek wyczytałbym o niej w tej księdze, nie miało to prawdziwego związku z przyszłością Albertyny, było odbiciem jej przeszłości. Czyżby? Także nie, bo zazdrość nie należy ani do przeszłości, ani do przyszłości. Wyobrażenia, które przywołuje, zawsze rozgrywają się w czasie teraźniejszym.

Zmiany pogody budzą uśpione w naszym wnętrzu, zapomniane zjawy, wytrącają nas z gnuśnych przyzwyczajzeń, wzmagają przepływ pewnego rodzaju wspomnień, dodają siły pewnego rodzaju cierpieniom. Tym bardziej działa się tak ze mną, gdy nastaly pogody podobne do tamtych, podczas których w Balbec Albertyna, nie wiedząc czemu, wyruszyła na długie wycieczki pod niebem zaciągniętym deszczowymi chmurami, a na jej ciele wiatr opinał gumową pelerynę. Gdyby żyła, to i dziś, w podobny czas, zechciałaby sobie w Turenii urządzić taką wycieczkę. Nie żyła już; nie musiałem dłużej dręczyć się obawami. Lecz jak to bywa po amputacji kończyny, najłżejsza zmiana ciśnienia przejawiała się nawrotem bólu w tej odjętej części mnie samego.

Znienacka wypłynęło wspomnienie, na które nie natrafiłem już od bardzo dawna, trwało bowiem rozpuszczone w niewidocznym roztworze wypełniającym przestrzeń pamięci, który teraz dopiero ulegał krystalizacji. Było to kilka lat temu, przypadkiem wspomniałem jej o płaszczu kąpielowym i Albertyna się zaczerwieniła. W owych czasach nie doznawałem jeszcze cierpienia zazdrości. Znacznie później przyszło mi na myśl zbadać, czy pamięta tamtą rozmowę i czy wyjawia mi przyczynę rumieńca. Tym bardziej dręczyłem się tą sprawą, że doszły mnie słuchy, jakoby dwie młode panny, przyjaciółki Lei, bywały w owym zakładzie wodolecznicznym przy hotelu, jak powiadano, nie tylko po to, żeby tam brać natryski. Lecz czy to z obawy, że rozgniewam Albertynę, czy też w oczekiwaniu na właściwy moment, zawsze odkładałem to na później, aż w końcu zapomniałem. I oto niespodziewanie, w jakiś czas po śmierci Albertyny, natrafiłem na to wspomnienie, naznaczone ową majestatyczną, a przy tym wyzywającą powagą tajemnic, które czyjaś śmierć pozostawiła na zawsze bez wyjaśnienia. Czyż nie powinienem przynajmniej podjąć próby ustalenia, co złego lub podejrzanego robiła Albertyna w kąpielowym przybytku? Zapewne zdołałbym to sprawdzić, wysyłając kogoś do Balbec. Gdyby ona żyła, z pewnością niczego bym się nie dowiedział. Ale języki rozwiązują się dziwnie łatwo, by opowiadać o cudzym występku, kiedy już nie potrzeba liczyć się z wrogością obwinionego. Inaczej niż wynalazki ludzkiego umysłu, owe barometry, balony, aparaty telefoniczne, które poddano tak liczny i wszechstronny udoskonaleniom, że w najnowszych modelach z trudem tylko da się wysledzić podobieństwo do pierwowzorów, nasza wyobraźnia zachowała swą pierwotną, prymitywną strukturę, z której powodu nie możemy zbyt wiele naraz zobaczyć, toteż obraz zakładu kąpielowego wypełnił całe moje wewnętrzne pole widzenia; można by pomyśleć, że w życiu Albertyny nie wydarzyło się nic ponadto.

Niekiedy w ciemnych zaułkach snu natykałem się na jeden z tych koszmarów, które tylko z pozoru są groźne — po pierwsze bowiem smutek, jaki przynoszą, wraz z przebudzeniem ustępuje najdalej po godzinie, podobnie jak odrętwienie wywołane nienaturalną pozycją, narzuconą nam w nocy przez jakąś dolegliwość; po drugie zaś każdy z osobna nawiedza nas niezbyt często, co dwa, trzy lata. Nigdy też nie możemy być pewni, że rozpoznajemy w nim sen z przeszłości. Wrażenie, że już go znamy, może okazać się złudne; bywa, że mamy do czynienia z czymś innym, choć podobnym — czego nie można nawet nazwać repliką.

Skoro tyle wątpliwości nurtowało mnie w związku z życiem Albertyny, z jej śmiercią — było oczywiste, że już dawno powinienem był wszcząć śledztwo. Ale ta sama słabość, ta sama gnuśność, która kazała mi unikać gniewu Albertyny, gdy jeszcze żyła, teraz, kiedy jej zabrakło, nadal przeszkadzała mi cokolwiek przedsięwziąć. A jednak, mimo słabości trwającej od lat, potrafi nagle obudzić się w nas energia. Zdecydowałem się rozpocząć dochodzenie, choćby nawet skazane na wyrzykliwość. Zacząłem się zastanawiać, komu mógłbym powierzyć zbieranie informacji na miejscu, w Balbec. Uznałem, że Aimé będzie właściwą osobą. Nie tylko znał dobrze teren, lecz w dodatku był to człowiek prosty, dbający przede wszystkim o własne korzyści, obojętny na wszelką moralność i oddany sługa

tego, kto mu płaci. Zaletą takich ludzi bywa absolutna dyskrecja, uczciwość i sumienność na równi z brakiem skrupułów. To właśnie o nich mówimy: „pocziwiec”. I ufamy im bezgranicznie. Kiedy Aimé ruszył w drogę, przemknęło mi przez głowę, że byłoby przecież nieporównanie lepiej, gdybym — zamiast wysłać go tam po pokątne wiadomości — wypytał o wszystko samą Albertynę. Lecz w tejsze chwili na myśl o pytaniach, jakie mógłbym jej zadać, jakie jej w swojej wyobraźni już prawie zadałem, poczułem tuż obok jej obecność, i to bez cudu wskrzeszenia jej z martwych; był to raczej zbieg okoliczności, przypadkowe spotkanie, zaskakujące jak te nie upozowane fotografie, które zawsze mają w sobie najwięcej prawdy. Już przysłuchiwałem się naszej rozmowie, gdy nagle poczułem, że to przecież rzecz niemożliwa. I tak oto ujrzałem z nowej, innej strony kontur tej samej myśli: że ona nie żyje. Miałem dla Albertyny specjalny rodzaj czułości, przeznaczonej dla nieobecnych — oni wszak nie popsują nam swoim widokiem wizerunku upiękzonego we wspomnieniach. Myśl, że zniknęła na wieczność i że nigdy już nie zazna radości życia, wtrącała mnie w melancholię. Tak oto nagły obrót spraw przemienił męki zazdrości w smutek osamotnienia.

W moim sercu miejsce nienawistnych przypuszczeń zajęło słodkie wspomnienie godzin ufnej czułości, kiedy to miałem w niej siostrę, utraconą, bo śmierć mi ją zabrała. Czym była dla mnie Albertyna, tego moja tęsknota już nie pamiętała; znała jedynie pragnienia mojego serca, żadnego miłości w sensie najogólniejszym, miłości, której wyobrażenie przechowało ono dla mnie jako prawdę o Albertynie. I wtedy moje dotychczasowe życie, które mnie tak nudziło (albo też sądziłem tylko, że mnie nudzi), wydało mi się, przeciwnie, szczytem marzeń. Każda chwila spędzona z nią razem, choćby na rozmowie o błahostkach, nabierała teraz nowego uroku, którego w przeszłości nawet nie przeczuwałem, szukając mimo to z uporem tych właśnie sytuacji, nie pragnąc żadnych innych. Przypominały mi się drobne zdarzenia, jakiś jej ruch, zauważony, kiedy jechała ze mną powozem albo kiedy zasiedliśmy do obiadu w jej pokoju, i każde z takich wspomnień przenikało moją duszę wszechogarniającą falą błogiej melancholii.

Pokoju, w którym nam wtedy nakryto, nie uważałem za szczególnie ładny, utrzymywałem tak tylko przed Albertyną, chciałem, by bardziej ceniła sobie przywilej zamieszkiwania w nim. Ale teraz te firanki, krzesła, książki były mi drogie. Nie tylko prawdziwa sztuka dodaje uroku i tajemniczości rzeczom pospolitym. Ta sama moc włączania ich w krąg naszych intymnych przeżyć dana jest także cierpieniu. Gdy w roztargnieniu jadłem z nią razem obiad po powrocie z Lasku, przed wizytą u Verdurinów, nie czułem jeszcze słodczy owej chwili, nie dostrzegałem jej piękna, ku któremu zwracały się teraz moje oczy pełne łez. Miłość jest czymś nieporównanie większym od wszelkich innych uczuć, ale przestajemy być jej świadomi, gdy rozproszy się pośród nich. Podobnie nie potrafimy ocenić wysokości katedry, póki spoglądamy na nią z dołu, stojąc wśród zgiełku ulicy, wśród stłoczonych kamienic. Dopiero z oddalenia, ze szczytu góry, skąd miasta już nie widać lub jawi się nam zaledwie jako mętny nalot na powierzchni ziemi, możemy w skupieniu, w ciszy wieczoru, zmierzyć ją wzrokiem, samotną, wieczną i czystą. Ze łzami w oczach ucałowałbym Albertynę za wszystkie poważne i dobre słowa, jakie usłyszałem od niej tamtego wieczoru.

Któregoś ranka, gdy czułem w dłoniach ciepło filiżanki czekolady, wydało mi się, że widzę znów wydłużony zarys wzgórza zasnutego mgłami, moje serce ścisnęło się zaś aż do bólu na wspomnienie tego popołudnia, kiedy Albertyna mnie odwiedziła i gdy pocałowałem ją po raz pierwszy; to dlatego, że usłyszałem pisk w urządzeniach centralnego ogrzewania, które właśnie uruchomiono. I zgniotłem ze złością zaproszenie od Verdurinów, przyniesione przed chwilą przez Franciszkę. Z jaką siłą powróciła do mnie ta myśl, która zaskoczyła mnie, kiedy po raz pierwszy byłem na obiedzie w La Raspelière — że śmierć nie wszystkim odmierza ich czas tą samą miarą. Oto teraz zabrakło wśród żywych Albertyny, tak młodej, a tymczasem Brichot po staremu bywał na obiadach u pani Verdurin, która przyjmowała jak dawniej i być może miała tak przyjmować jeszcze przez długie lata! Nazwisko Brichota z miejsca przypomniało mi o zakończeniu tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy to odprowadził mnie on do domu, ja zaś w oknie na górze, w pokoju Albertyny zobaczyłem zapaloną lampę. Do tej lampy wracałem myślami wiele razy, choć za każdym razem inną drogą. Jeśli bowiem wspomnienia naprawdę należą do nas, to jedynie tak, jak rozległe włości, do których prowadzą ukryte furtki, nam samym

nie znane. Otwiera je przed nami ktoś z sąsiedztwa i okazuje się, że oto wracamy do domu drogą, którą nigdy przedtem nie zdarzyło nam się iść. Wyobrażając zaś sobie pustkę, jaka czekała na mnie w domu, i wiedząc, że z dołu już nie zobaczę oświetlonego pokoju Albertyny, bo lampa zgasła na zawsze, pojąłem, w jak wielkim byłem błędzie owego wieczoru, gdy pożegnawszy Brichota, poczułem żal i zniecierpliwienie na samą myśl o tym, co mi przeszkadzało wyruszyć na poszukiwanie przygodnej miłości. Lecz pomyliłem się tak bardzo dlatego jedynie, że skarb, którego blask spływał ku mnie z okna, bez cienia wątpliwości uznawałem za swój niezbywalny stan posiadania, a jego wartości nie chciało mi się nawet oszacować, sądziłem zresztą, że nie może się ona równać z wartością rozkoszy najbardziej miłych, za którymi, podbijając ich cenę, uganiała się moja wyobraźnia. Moje życie w Paryżu, mój dom, który i dla niej był domem, objawił mi się nagle jako ucieleśnienie owej najdoskonalszej harmonii, o której przedtem śniłem i która wydawała mi się nieosiągalna pewnej nocy, kiedy zdarzyło nam się spać pod jednym dachem — pod dachem Grand Hotelu w Balbec.

Byłaby to dla mnie nieodżałowana strata, gdyby nie doszło do owej rozmowy z Albertyną po powrocie z Lasku, przed ostatnim wieczorem u państwa Verdurin. Rozmowa ta zbliżyła nas do siebie, do pewnego stopnia otwierając przed Albertyną mój wewnętrzny świat. Jeśli doznawałem radości na myśl, że do mnie po części należy jej dobroć i zalety jej umysłu, to z pewnością nie dlatego, że były one większe niż u innych znanych mi osób. Pani de Cambremer powiedziała mi przecież w Balbec: „Jakże to! Może pan spędzać całe dnie w towarzystwie Elstira, który jest geniuszem, a pan woli poświęcać czas swojej kuzynce!” Cechy umysłu Albertyny lubiłem, bo przez skojarzenia budziły we mnie te same uczucia, co łagodność jej usposobienia; słodczy owocu przypisujemy doznanie, które może się ziścić tylko na naszym podniebieniu. I rzeczywiście, ilekroć przywoływałem wspomnienie jej inteligencji, smakowałem je, odruchowo oblizując wargi, choć przecież wolałbym, żeby materialny ekwiwalent nadal istniał niezależnie ode mnie, w świecie zewnętrznym. To pewne, że spotykałem osoby o inteligencji nieporównanie ciekawszej. Lecz bezgraniczna natura miłości, albo też jej egoizm, sprawia, że umysł i serce tych, których kochamy, przedstawiają się nam w sposób najmniej bezstronny, przy czym nieustająco upiększamy ten obraz w myśl naszych pragnień i lęków, włączając go w granice swej własnej tożsamości, jako przestrzeń równie rozległą, co nieoznaczoną, pozostającą we władaniu naszych najtkliwszych uczuć. Własne ciało, wstrząsane na przemian udręką i rozkoszą, nigdy nie jawi się nam tak wyraziście, jak kontur drzewa, budynku, ludzkiej postaci. Być może powinienem żałować, że zbyt mało starań poświęciłem poznawaniu Albertyny takiej, jaką była naprawdę. Próbując zgłębić zagadkę jej uroku, przez długi czas rozpatrywałem kolejne w ciągu lat obrazy jej postaci, i zdumiewałem się, zauważając, że sama z siebie rozwinęła pewne modyfikacje własnej osobowości — nie mogłem ich przypisać jedynie zmianom mojego punktu widzenia. Powinienem był poznawaniu jej poświęcić tyle samo uwagi, co gdyby była kimś zupełnie mi nie znanym, a wtedy pojąłbym może, dlaczego tak uparcie broniła mi dostępu do swych tajemnic, i położyłbym kres zarówno temu niepojętemu, zatwardziałemu milczeniu, jak i mojej własnej podejrzliwości; w ten sposób zawczasu rozładowałbym ów konflikt, który doprowadził w końcu do śmierci Albertyny. I w takich chwilach, wraz z głębokim współczuciem, ogarniał mnie wstyd, że żyję, gdy ona umarła. Wydawało mi się — zwłaszcza gdy ból przycichał — że jej śmierć przyniosła mi niezasłużone korzyści. Kobieta bowiem odgrywa tym większą rolę w naszym życiu, im więcej wnosi w nie smutku — nie zaś radości. Jej posiadanie nigdy nie osiągnie dla nas takiej wartości jak prawdy, do których dochodzimy, gdy cierpimy z jej powodu. W chwilach tych porównywałem śmierć mojej babki ze śmiercią Albertyny i wydawało mi się, że nad moim życiem ciąży wina podwójnego mordu, który uszedł mi bezkarnie tylko dzięki nikczemności świata. Chciałem się ludzić, że ona mnie rozumiała, choć znałem wiele osób, u których pręcej niż u niej znalazłbym zrozumienie. Ale zrozumienia oczekujemy przede wszystkim od tych, których miłości pragniemy najbardziej. U innych jest nam ono obojętne, ich miłość zaś kłopotliwa. Jeśli czułem się szczęśliwy, że zdobyłem przyczółek w myślach Albertyny i w jej sercu, to nie ze względu na samoistne wartości jej serca i umysłu, ale dlatego, że miało mi to pomóc zawładnąć nią bez reszty. To był mój cel, za taką to chimerą goniłem, odkąd po raz pierwszy ujrzałem Albertynę. Kiedy mówimy o jakiejś kobiecie, że jest dla nas „dobra”, to zazwyczaj po prostu przy-



pisujemy jej uczucia, których sami doznajemy na jej widok, tak jak dzieci, kiedy mówią: „Kochane łóźeczko, kochana poduszczeźka, kochane kwiatuszki”. Oto dlaczego męczyźna nigdy nie powie „Jest taka kochana” o kobiecie wiernej, lecz właśnie o tej, która go zdradziła.

Jak słusznie zauważyła pani de Cambremer, umysłowość Elstira roztaczała urok o wiele bardziej nieodparty. Lecz nie da się mierzyć tą samą miarą dwóch osób, z których jedna istnieje dla nas zaledwie gdzieś w tle, wśród wielu innych, a druga za sprawą jakiejś pomyłki, której uporczywe skutki nie chcą ustąpić, stała się częścią nas samych, do tego stopnia, że jeśli ktoś spyta, czy pewnego dnia, dawno temu, nie przyglądała się ona zbyt wyzywająco innej kobiecie w wagoniku nadmorskiej kolejki, doznamy nagle takiego bólu, jak gdyby chirurg wsadził nam palec w serce, szukając w nim kuli. Zwykły rogalik, jeśli to my go jemy, przyniesie nam nieporównanie więcej radości, niż wszystkie ortolany, zające i kuropatwy podane na stół Ludwika XV, a źdźbło trawy drzące tuż przy naszej twarzy, kiedy leżymy na górskiej polanie, może przesłonić niebotyczne szczyty oddalone o wiele mil.

Nie na tym zresztą polega błąd, że zanadto cenimy inteligencję i dobroć ukochanej, jakkolwiek byłyby skromne. Błędem naszym jest obojętność wobec inteligencji i dobroci tych, których nie kochamy. Kłamstwo tylko wtedy budzi w nas oburzenie, na jakie zasługuje, a dobroć tylko wtedy nas wzrusza, gdy płynie od ukochanej kobiety; jakimś cudownym sposobem gorączka zmysłów przywraca rozumowi powagę i wzmacnia w nas zręby moralności. W nikim nie spodziewałem się już odnaleźć tego niebiańskiego daru, bliskości istoty, z którą mógłbym mówić o wszystkim i ze wszystkiego się zwierzać. Zwierzać się? Ale czyż wielu innym ludziom nie ufałem bardziej niż Albertynie? Czy to nie z innymi wiodłem długie rozmowy? Otóż zaufanie i rozmowa, rzeczy z natury niepełne i znikomej wagi, nabierają jej wówczas dopiero, kiedy opromieni je miłość, bo tylko ona jest rzeczą boską. Widziałem znowu Albertynę siadającą do pianoli, różową i ciemnowłosą. Czulem jej język, rozchylający moje wargi nie po to, by mi być pokarmem, życiodajny, uświęcony, pierwotny. Jego ukryty płomień i niewidoczna rosa ślizgały się po skórze mojego karku albo brzucha w pieszczocie powierzchniowej, lecz zarazem płynącej z samej głębi jej ciała, z jej wnętrza obróconego niby podszewką na wierzch i — w takich chwilach najlżejsze muśnięcie nabierało słodkiej i tajemnej mocy przenikającej mnie na wskroś.

Ale choć tamtych czarownych chwil nic już nie mogło mi wrócić, skłamałbym, mówiąc, że budzi to we mnie rozpacz. Aby pogrążyć się w rozpacz na myśl o przyszłości, którą widzimy w czarnych barwach, musielibyśmy czegoś się jeszcze po niej spodziewać. W rozpacz byłem na przykład w Balbec, kiedy patrzyłem, jak wstaje dzień, i wiedziałem, że ani ten, ani żaden nie może być dla mnie szczęśliwy. Byłem i pozostałem egoistą, lecz owo ja, które wtedy się objawiło, owo ja zaopatrzone w rezerwy żywotności i zdolne obudzić zmysł przetrwania, teraz już nie istniało. Kiedy próbowałem zebrać siły, kiedy odwoływałem się do źródeł mojej energii, do tego, co było we mnie najlepsze, myślałem o tym jak o skarbie, który kiedyś do mnie należał (wyłącznie do mnie, nikt inny bowiem nie mógł przeniknąć uczuć pulsujących najgłębiej, które mi były natchnieniem), a teraz nie można mi go było nawet odebrać, bo już do mnie nie należał. Prawdę mówiąc, jeśli kiedykolwiek go posiadałem, to jedynie dlatego, iż pragnąłem go i żyłem w przekonaniu, że należy do mnie. Było to z mojej strony wielką nieostrożnością, że próbowałem poznać Albertynę dotykiem warg, że zamknąłem ją w swoim sercu, by stała się częścią mnie samego, jeszcze większą zaś nieostrożność popełniłem, pozwalając, by naszą przyjaźń zniszczyła gorączka zmysłów. Chciałem przekonać sam siebie, że to, co działo się między nami, było miłością, że stosunki, jakie nas łączyły, tak się właśnie nazywają, bo przecież ona posłusznie odwzajemniała moje pocałunki. A skoro uparłem się w to wierzyć, jej śmierć odebrała mi nie tylko ukochaną istotę, lecz także tę, która odwzajemniała moją miłość, w jednej osobie niewinne dziecko, siostrę i namiętą kochankę. Doznałem takiego szczęścia i nieszczęścia, jakie nigdy nie stały się udziałem Swanna, bo przez ten czas, kiedy był zakochany w Odecie i cierpiał męki zazdrości, mógł ją widywać tylko w niektóre dni: zapraszała go z rzadka, a i wtedy potrafiła odwołać spotkanie w ostatniej chwili. Lecz później została jego żoną, miał ją tylko dla siebie do końca swoich dni. Ze mną było odwrotnie: w czasach, kiedy najmocniej płonęła we mnie zazdrość o Alber-

tynę, mieszkała ona ze mną w moim własnym domu. Udało mi się doświadczyć tego, o czym i Swann wciąż tylko marzył i co uzyskał dopiero wówczas, kiedy już mu na tym nie zależało. Lecz, inaczej niż on, który zatrzymał Odetę przy sobie, upilnować Albertyny i tak nie zdołałem. Uciekła mi, umarła. Nic bowiem nie zdarza się po raz drugi; dwa losy, mój i Swanna, które przez podobieństwo postaci i sytuacji można by przedstawiać jako przykład doskonałej symetrii, z jakiegoś innego punktu widzenia okazują się przeciwieństwami. A przecież najważniejsza różnica między nimi — powołanie — jeszcze się wtedy nie ujawniła.

Gdybym w tamtej chwili stracił życie, to bardzo niewiele byłbym stracił: powłokę cielesną, pustą ramę po arcydziele. Było mi wszystko jedno, czy kiedyś jeszcze się ona na coś przyda, ale czułem dumę i zachwyt na myśl o tym, co było w nią niegdyś oprawione; to piękne wspomnienie służyło mi za oparcie, podnosiło mnie na duchu, dzięki niemu doznawałem błogości, której nie zmąciłaby nawet śmierć. Jakże pośpiesznie biegła do mnie w Balbec Albertyna, ledwie po nią posłałem, a jeśli się ociągała, to tylko przez chwilę, dla fryzury, dla paru kropel perfum, których potrzebowała, żeby mi się podobać! Te obrazki z Balbec i z Paryża, które tak lubiłem oglądać wciąż na nowo, były dopiero co przewróconymi — nazbyt pośpiesznie — stronicami księgi jej krótkiego żywota. To wszystko, co mogłem już tylko wspominać, było kiedyś życiem, rozpędzonym jak akcja teatralnej tragedii, zmierzająca ku nieuniknionej i gwałtownej śmierci bohaterki. Bliscy nam ludzie ulegają procesom przemian zachodzących jednocześnie w naszych sercach i w świecie zewnętrznym, przy czym jedno nie pozostaje bez wpływu na drugie (odczuwałem to zwłaszcza w owe wieczory, kiedy zaskakiwało mnie w Albertynie bogactwo nowych przymiotów, teraz zawieszonych już tylko na cienkiej nitce mojej pamięci). Kiedy zmierzałem do zawarcia znajomości z Albertyną, już myślałem o tym, by osiąść ją bez reszty, przyświecała mi nadzieja zawładnięcia tą nieznaną krainą, którą nasza wyobraźnia czyni obcą i niedostępną — tajemnicą innego człowieka — po to jedynie, by sprowadzić ową drugą istotę na poziom najlichszego z naszych ja i w ten sposób unicestwić w sobie radosne nadzieje. Być może zniżył ją mój majątek i szansa na doskonałą partię; zatrzymała ją przy mnie moja zazdrość; łagodność jej usposobienia albo rozsądek, poczucie winy, albo też wyrachowanie, kazało jej przyjąć, mnie zaś stale zaostrzać warunki niewoli w bezpośrednim wyniku niezmordowanej aktywności mojego umysłu, nie pozbawionej wówczas wpływu na życie Albertyny, a teraz rykoszetem uderzającej we mnie samego. Tak więc wikłałem się w coraz to nowe, coraz to bardziej bolesne problemy, ponieważ ona uciekła z więzienia, w którym ją zamknąłem, ponieważ spadła z konia — a nie dosiadłaby go zapewne, gdyby nie ja — i straciła życie. Ale po jej śmierci nadal dręczyły mnie podejrzania, których potwierdzenie zraniłoby mnie jeszcze okrutniej niż dawno temu, w Balbec, odkrycie jej zażyłości z panną Vinteuil — bo teraz Albertyny nie było już przy mnie i nie było komu mnie pocieszyć.

Ta nigdy nie milknąca skarga mojej duszy, przeświadczona, że żyje zamknięta w sobie, tylko z pozoru była monologiem, odzywały się w niej bowiem echa zewnętrznej rzeczywistości i wносиły własny ton, a przecież życie, ów niekontrolowany eksperyment psychologiczny, gdy przyglądamy mu się z dystansu, ukazuje nam w całej jaskrawości obraz cudzego losu: fabułę, której perypetie także kształtują warunki eksperymentu i wpływają na jego przebieg. Jak doskonale zazębiły się tryby, w jakże szybki ruch wprawiły mechanizm naszej miłości, który choć z początku trochę jeszcze zacinał się i zwalniał, potem zmierzał prosto ku błyskawicznej kulminacji, tak jak opowiadania Balzaca, jak pieśni Schumanna. To właśnie w ciągu ostatniego roku, dla mnie długiego jak stulecie — między wakacjami w Balbec a wyjazdem Albertyny z Paryża, gdy tylekroć zmieniał się miejsce zajmowane przez nią w moich myślach, a przy tym niezależnie ode mnie i poza moją świadomością zmieniała się ona sama — musiało się pomieścić to kipiące emocjami życie, które trwało tak krótko, a mimo to wydawało mi się bogate i niezmierzone, i utracone na zawsze, i wciąż niezbędne mi do szczęścia. Niezbędne, choć przynajmniej z początku nie czuło się w nim nieuchronności, nie poznałbym bowiem Albertyny, gdybym w jakiejś rozprawie archeologicznej nie przeczytał przypadkiem o kościele w Balbec. Gdyby Swann, opowiadając mi o jego przepychu niemalże perskim, nie natchnął mnie nadzieją odnalezienia Bizancjum w Normandii i gdyby pewna spółka hotelarska nie wzniosła w Balbec nowoczesnego, higienicznego hotelu, rodzice nie zgodziliby się spełnić mojego życzenia

i nie wysłaliby mnie tam na lato. Rzecz jasna, w owym wytęsknionym Balbec nie zastałem ani perskiego kościoła, jaki sobie wyobraziłem, ani wiecznych mgieł. Już sam pociąg pierwsza trzydzieści pięć zawiódł moje marzenia. Ale w zamian za to, co obiecuje nam wyobraźnia i czego potem, nie szczedząc sił, na próżno szukamy, życie przynosi nam co innego, dary, jakich nie przyszłoby nam do głowy oczekiwać. Któż przepowiedziałby mi w Combray — kiedy z takim utęsknieniem czekałem na matkę, by przyszła i powiedziała mi dobranoc — że niepokoję przeminą, a gdy wrócą, to już nie za sprawą matki, tylko młodej dziewczyny, z początku będącej jedynie kwiatem na tle morza, który będzie wabił moje oko każdego ranka; kwiatem czującym, w którego uczuciach tak bardzo zapragnę mieć poczesne miejsce, iż popadnę w naiwną rozpacz z powodu jej niewiedzy co do mojej znajomości z panią de Villeparisis. Otóż po latach miałem znowu cierpieć, czekając pocałunku na dobranoc od tej obcej mi osoby, i znosić ból równie dotkliwy, jak kiedyś nie doczekawszy się matki. I tej właśnie Albertyny, niezbędnej mi do życia, przedmiotu miłości, która wypełniła w końcu bez reszty moje serce, nie poznałbym nigdy, gdyby Swann nie opowiedział mi w swoim czasie o Balbec. Jej życie zapewne nie urwałoby się tak nagle, moje zaś byłoby uboższe o coś, co w końcu zamieniło je w męczarnię. Skłaniałem się do przypuszczenia, że to egoistyczna natura mojej miłości, wpędziwszy przedtem do grobu babkę, doprowadziła do śmierci Albertyny. W Balbec nawet wtedy, kiedy już udało mi się zawrzeć z nią znajomość, nie kochałem jej taką miłością, jaka płonęła we mnie teraz. Kiedyś, wyrzekłszy się Gilberty, byłem pewny, że nowa miłość przyjdzie prędzej czy później, lecz pogrążony we wspomnieniach, wiedziałem przynajmniej jedno: że — ta miniona była moim przeznaczeniem. A co do Albertyny — nie żywiłem najmniejszych wątpliwości — zamiast niej mogła pojawić się równie dobrze inna, na przykład panna de Stermaria, gdyby nie odwołała spotkania w ów wieczór, kiedy miałem zjeść z nią obiad na wyspie w Lasku. Wtedy jeszcze wszystkie możliwości stały przede mną otworem, i to w jej stronę mogła się zwrócić aktywność, mojej wyobraźni, która każe nam ujrzeć w kobiecie coś tak wyjątkowego, że stanie się dla nas istotą jedyną w swoim rodzaju, niezastąpioną, naszym przeznaczeniem. Z punktu widzenia czysto organicznego mogłem co najwyżej stwierdzić, że gdyby wszystko się potoczyło inaczej, to ów potencjał mojej miłości przełąłby się na inną kobietę. Lecz nie na którąkolwiek. Choć bowiem Albertyna, krągła i ciemnowłosa, nie była podobna do wysmukłej, rudej Gilberty, obydwie miały w sobie ten sam rodzaj świeżości i siły, coś zmysłowego w kształcie policzków i nieodgadniony wyraz oczu. Wielu mężczyzn nie obejrzałoby się za żadną z nich, choć gotowi byli oszaleć dla innych kobiet, które z kolei do mnie „nie przemawiały”. Mógłbym prawie uwierzyć, że zmysłowy i władczy duch Gilberty wstąpił w ciało Albertyny: prócz widocznej odmienności istniało między nimi szczególne, głębokie podobieństwo. Każdy człowiek ma własny i prawie niezmienny sposób przeziębiania się, poddawania się chorobie — by na nią zapadł, musi pojawić się pewien szczególny zbieg okoliczności; jest więc rzeczą naturalną, że na chorobę miłości zapadamy zawsze za sprawą kobiet o tym samym typie urody, określonym zresztą nader ogólnie. Pierwsze spojrzenia Albertyny, które ośmieliły mnie do szalonych rojeń, nie były tak bardzo różne od pierwszych spojrzeń Gilberty. Mogłoby się wydawać, że nieodgadniona natura Gilberty, zmysłowa, samowolna i przebiegła, naprawdę powróciła w ciele Albertyny, by jeszcze raz wystawić mnie na ciężką próbę. Lecz moje życie z Albertyną potoczyło się inaczej, bo zamieszkaliśmy razem, i nie pozostała ani jedna szczelina w zwartej ścianie bolesnych i niepokojących myśli, przez którą mogłaby się prześliznąć odrobina bez troski i wytchnienia; a ciało Albertyny, żywe i bliskie, inaczej niż ciało Gilberty, do końca zachowało w moich oczach coś nieuchwytnego, czego nie musieli dostrzegać inni mężczyźni, a co po jej śmierci stało się dla mnie ostatecznym wzorcem kobiecości. Ale jej samej nie było już wśród żywych. Wiedziałem, że zapomnę. I było do przewidzenia, że te właściwości ciała i ducha — gorąca krew, nieposkromione pragnienia — powrócą wtedy, by jeszcze raz rzucić na mnie swój zgubny czar. Lecz jaką kobietą postać wówczas przybiorą, tego nie mogłem przewidzieć. To, co wiedziałem o Gilbertce, samo w sobie nie pozwalało jeszcze przeczuć Albertyny i nowej miłości, tak samo jak poznanie sonaty Vinteuila nie wystarczało, bym mógł wyobrazić sobie jego septet. Tym bardziej że podczas pierwszych spotkań z Albertyną nie przypuszczałem, bym to właśnie ją miał pokochać. Jeślibym poznał ją rok wcześniej, wydałaby mi się bezbarwna jak niebo przed wschodem słońca. W moim stosunku do niej coś się

zmieniło, ale ona sama zmieniła się także. Młoda dziewczyna, która przyszła do mojego łóżka tego dnia, kiedy napisałem do panny de Stermaria, nie była już tą samą, którą znałem w Balbec — czy to za sprawą procesów dojrzewania, zwińczonej nagłym wybuchem kobiecości, czy też z innych przyczyn, których nigdy nie było mi dane poznać. Lecz nawet jeśli ta, w której będę się jeszcze kochał w przyszłości, miałaby się okazać podobna do Albertyny, inaczej mówiąc, jeśli otrzymałbym dowód, że podlegam jakiemuś wewnętrznemu przymusowi, a moja wolność jest ograniczona, to i tak pozostanie mi jeszcze wiele możliwości: zawsze będę wybierał spośród pewnego rodzaju kobiet. Takim stwierdzeniem odebrałem mojemu związkowi z Albertyną wymiar nieuchronności, i to mnie uspokoiło. Kobieta, której obraz w naszych oczach nie gaśnie nawet wraz ze światłem — bo przecież zamknąwszy powieki, ani na chwilę nie przestajemy zachwycać się jej profilem, jej spojrzeniem, chwytamy się wszelkich możliwych sposobów, by znów ją ujrzeć — ta jedyna, dobrze o tym wiemy, pozostałaby obcą nam, gdybyśmy pojechali do innego miasta, gdybyśmy odbywali przechadzki w innych dzielnicach, gdybyśmy odwiedzali inne salony. Jedyna? Jest ich przecież bez liku! A jednak jej wyrazisty, niezatarty portret wciąż widzą nasze zakochane oczy i przez bardzo długi czas żadna inna nie potrafi jej nam zastąpić. To ona bowiem magicznym zaklęciem obudziła w nas żywioł miłości, przedtem rozproszony, bezkształtny, który dla niej poruszył się i zafalował. To my sami stworzyliśmy kształt jej postaci i wypełniliśmy go swą własną substancją. Przeto nawet jeśli dla niej jesteśmy jednym z wielu, i być może najostatniejszym wśród nich, to ona jest dla nas wszystkim: jedynym w życiu celem. Wiedziałem oczywiście, że ta miłość nie była nieunikniona, skoro równie dobrze mogła ją we mnie rozniecić panna de Stermaria; i nie tylko dlatego, znałem ją bowiem, tę miłość, i wiedziałem, że nazbyt jest podobna do każdej innej miłości, jaką bym przeżywał; byłem świadomy, że jest ona czymś większym od Albertyny, że ją otacza i zagarnia, wcale jej nie znając, tak jak przyływ morza pochłania wątle fale przyboju. Żyjąc z Albertyną dzień po dniu, sam sobie założyłem okowy, z których wyzwolić się już nie umiałem. Z przyzwyczajenia łączyłem z jej osobą także te uczucia, które nie z niej czerpały natchnienie — wierzyłem, że wszystkie odnoszą się tylko do niej, ponieważ przyzwyczajenie, według pewnej szkoły filozoficznej, nadaje prostemu skojarzeniu myśli, łączącemu dwa różne zjawiska, fałszywą rangę związku przyczynowego. Kiedyś wierzyłem, że moje stosunki towarzyskie i majątek ustrzegą mnie od cierpienia, i to aż nadto skutecznie, wydawało mi się bowiem, że obronny mur przywilejów osłoni mnie nawet przed pragnieniami, marzeniami i miłością; zazdrościłem więc ubogiej wiejskiej dziewczynie, której nie są dane koneksje w wielkim świecie ani dostęp do telegrafu, ale za to ma ona przed sobą długie miesiące ciszy, by przetrwać cały bezmiar swej rozpacz, nie rozproszonej działaniem medykamentów uśmierających smutek. Teraz zrozumiałem, że tak jak pani de Guermantes, posiadająca w nadmiarze wszystko to, co dystans między nami mogło uczynić nieprzebytym, przekroczyła go ni stąd, ni zowąd, może pociągnięta mocą opinii czy poglądu, iż różnice pozycji społecznej to materia biernie poddająca się przekształceniom, nic stałego — tak też ja sam, ze względu na moje koneksje, pozycję majątkową i dochody, na wszystko, co zawdzięczałem z jednej strony swojej osobistej sytuacji, z drugiej zaś strony cywilizacji mojej epoki — nie mogłem liczyć na nic więcej, niż odwleczenie bezpośredniego starcia mojej woli z przeciwstawną, nieugiętą wolą Albertyny, niepodatną na żadną presję — tak jak to się dzieje w nowoczesnych wojnach, gdy przygotowanie artyleryjskie i przerażająca siła ognia odsuwają jedynie na później chwilę, kiedy człowiek musi rzucić się na człowieka, wtedy zaś ten będzie górą, kto ma twardsze serce. Mogłem oczywiście wymieniać depesze z Robertem de Saint-Loup, mogłem nawet utrzymywać stały kontakt z urzędem pocztowym w Tours, ale czy moje nadzieje nie okazywały się daremne, a rezultat żaden? Wiejskie dziewczęta, bez przywilejów, bez stosunków, albo prości ludzie nie nawykli do korzystania z osiągnięć techniki, czyż nie cierpią mniej ode mnie, nie żądając aż tyle i nie płacząc za tym, co od zawsze było nie dla nich, co właśnie dlatego wydawało im się nierzeczywiste? Najbardziej pożądamy tej, która ma się nam za chwilę oddać; oczekiwania wyprzedzają chwilę triumfu, a żal nasila pragnienia. To właśnie dlatego, że panna de Stermaria nie przyjęła zaproszenia na obiad na wyspie w Lasku, pokochałem nie ją, lecz inną. Wystarczyłaby nawet sama ta odmowa, by rozpałić we mnie miłość — pod warunkiem, że w odpowiednio krótkim czasie znów spotkałbym pannę de Stermaria. Gdy dowiedziałem się, że ona nie przyjdzie,

przywołałem hipotezę nieprawdopodobną, która jednak później się potwierdziła — że, być może, ktoś z zazdrości o nią żąda, by trzymała się z dala od innych mężczyzn, i że nigdy więcej jej nie zobaczę. Rozpaczalem tak bardzo, że oddałbym wszystko, by móc się z nią spotkać. Była to jedna z najgorszych chwil mojego życia i dopiero nadejście Roberta de Saint-Loup przyniosło mi uspokojenie. Cóż, kiedy zaczynamy dorastać, nasze miłości rodzą się z naszych udręek; pamięć i blizny w naszych sercach nadają bieg przyszłości. Co zaś się tyczy w szczególności Albertyny, jeśli nawet pominąć przebliski różnych pokrewnych zauroczeń jej przyjaciółkami, wpisanych w moją miłość do niej, sama historia tego uczucia świadczy o tym, że od początku było ono dziełem przypadku, nie zaś wyrokiem losu. Nie była to miłość tego rodzaju co tamta, do Gilberty, tamtej bowiem nigdy nie dzieliłem między gromadę dziewcząt. Niewykluczone, że zwróciłem na nie uwagę tylko z jej powodu, bo dostrzegałem w nich coś, co mi ją przypominało i podobały mi się właśnie dlatego. Ale jednak przez długi czas nie przestawałem się wahać, moje pragnienia krążyły to wokół jednej, to znów drugiej, i kiedy już wydawało mi się, że wybrałem którąś z nich, wystarczyło, by inna spóźniła się na spotkanie albo nie miała dla mnie czasu, i oto do niej właśnie zaczynało we mnie wzbierać uczucie. W Balbec zdarzało mi się często, gdy czekałem na pojawienie się Anny, zmyślać dla niej słowa, które miały ją przekonać, że mi na niej nie zależy: „Jaka szkoda, że nie przyszła pani wcześniej o parę dni! Teraz już kocham inną, ale to nic, może mnie pani pocieszyć”, lecz jeśli przed spotkaniem z Anną wystawiła mnie do wiatru Albertyna, to serce waliło mi przez cały czas, bałem się, że więcej jej nie ujrzę, i już tylko ją kochałem. Gdy wówczas pojawiała się Anna, składałem bez cienia nieszczeroci (tak jak potem w Paryżu, kiedy wiedziałem już o znajomości Albertyny z panną Vinteuil) wyznania, które w jej uszach mogły zabrzmieć podejrzenie i kłamliwie, bo złożyłbym je w tych samych słowach, gdybym poprzedniego dnia nasycił się szczęściem u boku Albertyny: „Ach, gdyby pani przyszła wcześniej! Teraz już kocham inną”. Oddałem Albertynie miejsce Anny, dowiedziałem się o pannie Vinteuil. Moje uczucia wciąż jeszcze były chwiejne, nieustalone, a przy tym kochałem zawsze tylko jedną z nich. Lecz wcześniej bywało i tak, że już prawie zrywałem z obiema równocześnie. Ta, która wówczas uczyniłaby pierwszy krok, przywróciłaby mi równowagę, wiedziałem jednak, że jeśli któraś z nich będzie wołała przedłużać niesnaski, zostanie mi jeszcze ta druga; nie było przesądzone, z którą się w końcu związę: może właśnie z pierwszą, znalazłszy w niej oparcie — choćby i nic ono nie pomogło — wobec upartego chłodu drugiej, o której w końcu zapomnę być może, jeśli zbyt długo będzie nieobecna. Otóż kiedy byłem pewien, że albo jedna, albo druga wkrótce się pojawi, zdarzało się, iż przez dłuższy czas nie wracała do mnie żadna z nich. Wtedy cierpiałem ze zdwojoną siłą, i kochałem także podwójnie. Obiecywałem sobie, że porzucę tę, która powróci pierwsza, tymczasem tęskniłem za obydwoma. Taki to los przynosi dojrzałość, niektórym z nas przedwcześnie: miłość rozpala się w nas nie za sprawą czyjejś obecności, lecz z powodu odręczenia. Już nawet nie widzimy zarysu tej postaci, jej duch staje się dla nas nieuchwytny, nie wiemy nawet, dlaczego ją wybrali tak pochopnie, wiemy zaś tylko jedno: że aby natychmiast położyć kres cierpieniu, trzeba wypowiedzieć te słowa: „Czy znajdzie pani dla mnie chociaż chwilkę?” Moje rozstanie z Albertyną w dniu, kiedy Franciszka oznajmiła mi, że „panna Albertyna wyjechała”, zawarło w sobie prawdę wszystkich rozstań. Na ogół bowiem nie potrafimy dostrzec, że jesteśmy zakochani, albo zgoła nie możemy się naprawdę zakochać, póki nie nadejdzie godzina rozłąki.

W takich wypadkach, kiedy czekamy na próżno, odmowa przesądza o naszym wyborze, wyobrażenia pod biczem cierpienia pracuje coraz pręcej i w swym szaleńczym rozpędzie powołuje do życia miłość nie rozkwitłą, bezkształtną, która powinna pozostawać w stadium zalążka jeszcze przez wiele miesięcy; rozum, nie nadążając za sercem, woła zdumiony: „Czyś ty oszalało? Cóżes jeszcze wymyśliło, by znowu cierpieć? To wszystko tylko rojenia!” I gdyby ona, wiarołomna, nie odręciła nas właśnie wtedy, to drobne przyjemności życia, kojąc udrękę serca, wyleczyłyby nas szybko. Ale choć nie sądziłem, że życie z Albertyną było moim przeznaczeniem, to w każdym razie okazało się niezbędne mi do szczęścia. Kochając się w pani de Guermantes, powtarzałem sobie z trwogą, że jej przewaga jest zbyt wielka, że rozporządza ona urzekającą mocą nie tylko swej urody, ale także bogactwa i pozycji towarzyskiej, dzięki czemu korzystać może aż nadto ze swobody przestawania z mnóstwem ludzi i że ktoś taki jak ja nic dla niej nie znaczy. Jeśli zaś

chodzi o Albertynę, sierotę bez majątku i stosunków w świecie, można by pomyśleć, że małżeństwo ze mną powinno być dla niej szczytem marzeń. A mimo to nie udało mi się zatrzymać jej przy sobie. W istocie żadne okoliczności, ani społeczne uwarunkowania, ani nawet nasza własna przemysłność, nie zapewnią nam władzy nad życiem drugiej osoby.

Czemuż nie chciała przyznać: „Tak, mam takie gusta?” Byłbym ustąpił, byłbym pozwolił jej spełnić pragnienia. Czytałem jakąś powieść, w której żadna wymówka ani skarga z ust mężczyzny nie mogła skłonić do wyznań kobiety, którą kochał. W trakcie lektury uznałem tę sytuację za niedorzeczną. Na początek wydusiłbym z tej kobiety prawdę, myślałem sobie wtedy, a potem jakoś doszlibyśmy do porozumienia. Na co komu takie męczarnie? Teraz jednak wiedziałem już, że nie od nas zależy, czy ściągniemy je na siebie, i że choćbyśmy nawet najlepiej wiedzieli, czego chcemy, inni nie muszą spełnić naszej woli.

Ileż razy bezwiednie i bezwolnie wypowiedzieliśmy te bolesne, nieubłagane prawdy, które rządzą naszym życiem, i na które byliśmy ślepi. Prawda naszego losu, prawda naszego serca wyzierała ze słów w moim własnym mniemaniu do cna kłamliwych, którym jednak przyszłe wydarzenia miały przydać wagi proroctwa. Przypominałem sobie kwestie, którymi przerzucaliśmy się, nie doceniając jeszcze prawdy w nich ukrytej, kwestie wypowiedzane z oszukańczą intencją, jakbyśmy oboje odgrywali komedię. Ale ich fałsz, skrojony na miarę naszej żalostnej nieszczerości, był podrzędny i zgoła banalny wobec ogromu nieuświadomionej prawdy, jaka w nich tkwiła. Nasze kłamstwa błędziły po jej obrzeżach, choć jej samej nie mogliśmy dostrzec. Była to prawda o nas samych, o życiu, na jakie byliśmy skazani; jego prawa wciąż nam się wymykały, potrzebowały bowiem czasu, by się objawić. Sądziłem, że kłamię, kiedy mówiłem jej w Balbec: „Im częściej będę panią widywał, tym więcej będę kochał” (a przecież to właśnie niezliczone chwile bliskości przywiązały mnie do niej tak bardzo i roznieciły szaleńczą zazdrość). A w Paryżu mówiłem jej: „Bądź ostrożna. Pomyśl, jak bardzo byłbym zrozpaczony, gdyby coś ci się stało”, ona zaś na to: „Wypadki chodzą po ludziach”. Wtedy, kiedy udawałem, że chcę się z nią rozstać, mówiłem: „Pozwól mi jeszcze chwilę popatrzeć na ciebie, bo wkrótce przestanę cię widywać, i to na zawsze” — a ona tegoż wieczoru powiedziała, rozglądając się wokół: „Pomyśleć, że nie zobaczę już więcej tego pokoju, tych książek, tej pianoli, całego tego domu. Nie mogę w to uwierzyć, a jednak to prawda”. A w jednym z dwóch ostatnich listów pisała (być może mówiąc sobie — „Co mi szkodzi wstawić mu lipę?”): „To, co we mnie najlepsze, pozostanie przy Tobie” — ale czyż jej uroda, inteligencja i łagodność nie były w końcu zdane wyłącznie na wierność i siłę mojej pamięci, równie kruchej, niestety? Albo to: „...nigdy nie zapomnę tamtego zmierzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą zbliżało się nasze rozstanie. Na zawsze zostanie on w mojej pamięci, póki nie pochłonie mnie ciemność wiekuista” — słowa te napisała w przeddzień wypadku, po którym ciemność pochłonięła ją na zawsze; w ostatnich gorączkowych błyskach światła, które wśród grozy chwili rozproszyły się w nieskończoności, ujrzała być może właśnie ten spacer o zmierzchu, i w tej minucie, kiedy zmuszeni porzucić wszystko, szukamy w sobie wiary, jak owi ateści, którzy na polu bitwy na powrót zostają chrześcijanami, być może wzywała swojego przyjaciela, tylekroć przeklinanego, lecz zarazem darzonego nabożnym szacunkiem; on zresztą — bo wszystkie bóstwa są podobne — w swym okrucieństwie żywi nadzieję, że zdążyła się jeszcze przed śmiercią opamiętać, że poświęciła mu swą ostatnią myśl, wyznała winy i umarła z jego imieniem na ustach.

Ale cóż mi z tego, jeśli nawet zdążyła się opamiętać, skoro oboje za późno zrozumieliśmy, w czym było nasze szczęście i co trzeba nam było zrobić; skoro pojęliśmy to dopiero wówczas, kiedy owo szczęście stało się niemożliwe i nic już nie mogliśmy dla niego uczynić. Nieraz odwołujemy działanie dlatego tylko, że jeszcze leży w zasięgu naszych możliwości. Albo też traci dla nas ową pociągającą siłę łatwych spełnień, gdy wyrwane z idealnej próżni umysłu, musi udźwignąć ciężar i brzydotę rzeczywistości. Świadomość, że umrzemy, jest okrutniejsza od samej śmierci. Ale mniej okrutna niż myśl, że umarł ktoś inny, że wystarczyło jednej chwili, by zniknął, by odmet, w którym nie ma ani woli, ani świadomości, pochłoniął go bez śladu i zamknęła się nad nim gładka jak przedtem tafla. Pamięć tej osoby, jej dopiero co przerwane życie, stanie się równie nieuchwytna.

na, jak wspomnienia, które zostawiły nam po sobie bezcielesne postacie z przeczytanej dopiero co powieści.

Byłem szczęśliwy, że przed śmiercią zdążyła chociaż napisać do mnie ten list, zwłaszcza zaś, że wysłała swą ostatnią depezę, świadczącą o tym, że wróciłaby do mnie, gdyby pozostała wśród żywych. Wydawało mi się, że dzięki temu los stał się nie tylko łatwiejszy do zniesienia, ale i piękniejszy, że bez owej depezy zabrakłoby symbolicznego zakończenia, kunsztownej klamry, spinającej dzieje uczucia. W istocie bowiem każde zdarzenie w naszym życiu nosi odcisk sztancy przeznaczenia i każde, jakkolwiek przyjęłoby kształt, jest kolejnym ogniwem cyklu, którego zdaje się stanowić konkluzję; narzuca całości właściwy sobie rysunek, i ten zaczyna się nam wydawać jedynym możliwym, bo innego nie znamy.

Dlaczego jednak nie powiedziała mi: „Tak, mam takie gusta”? Byłbym zgodził się na wszystko, z ucałowaniem rąk. Z jakimż smutkiem przypominałem sobie, że okłamała mnie, przysięgając na trzy dni przed swą ucieczką, że nigdy nie utrzymywała z panną Vinteuil podejrzanych stosunków, które w tej samej chwili, gdy usta Albertyny im zaprzeczały, zdradził przede mną rumieniec na jej policzkach! Biedna mała, była przynajmniej wystarczająco uczciwa, by odmówić mi zapewnienia, że to nie dla spotkania z panną Vinteuil i jej przyjaciółką tak bardzo chciała pójść do Verdurinów pamiętnego wieczoru. Dlaczego w swojej szczerości zatrzymywała się w pół drogi? Zapewne zresztą było w tym trochę mojej winy, jeśli nigdy, pomimo błagania, które zawsze rozbijało się o mur zaprzeczeń, nie zgodziła się przyznać: „Tak, mam takie gusta”. Wina moja sprowadzała się być może do tego, że w Balbec, nazajutrz po wizycie pani de Cambremer, gdy rozmawialiśmy o tych sprawach po raz pierwszy i byłem jeszcze jak najdalszy od przypuszczenia, że jej zażyłość z Anną może oznaczać coś więcej niż dziewczęcą egzaltację w przyjaźni, wyraziłem bardzo gwałtownie swój wstręt do występnych obyczajów niektórych kobiet, potępiłem je nazbyt kategorycznie. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy Albertyna zaczerwiła się, kiedy w swej naiwności oznajmiłem jej, jaką przejmują mnie zgrozą. Często tak bywa, że po długim czasie pragniemy powrócić do wyrazu czyjejs twarży w chwili, kiedy nie zwracaliśmy nań uwagi; sięgając myślą do tego zdarzenia, pragniemy go koniecznie odtworzyć, by wyjaśnić sobie bolesną zagadkę, ale w pamięci mamy lukę, nie został żaden ślad. Nieraz też patrzymy nieuważnie na to, co od razu powinno się nam wydać istotne, umknie nam jakieś zdanie, przeoczmy gest albo puścimy go w niepamięć. A kiedy namiętnie zapagniemy dociec prawdy i miotamy się od jednego do drugiego domysłu, wertując stronicę pamięci niczym akta sądowe, gdy już mamy dotrzeć do zagubionego zdania czy gestu, za każdym razem w tym samym miejscu ślad się urywa, choćbyśmy sto razy zaczęli od nowa: wszystko na próżno. Czy Albertyna się zaczerwiła? Nie pamiętałem, ale przecież musiała usłyszeć moje słowa, których wspomnienie z pewnością powstrzymywało ją potem od wyznań. A teraz nie było jej już nigdzie, mógłbym przemierzyć cały świat od bieguna po biegun i nie spotkałbym Albertyny. Tafla rzeczywistości, która się nad nią zamknęła, już była na powrót gładka, nie pozostał na niej żaden ślad po istocie, którą pochłonęły głębiny. Ona zaś sama stała się oto imieniem, tak samo jak owa pani de Charlus, o której ci, co ją znali, mówili obojętnie: „To była przeurocza osoba”. Ale ja ani przez chwilę nie chciałem przyjąć za swoją tej rzeczywistości niedostępnej już Albertynie. We mnie bowiem Albertyna wciąż jeszcze żyła, i wokół jej życia krążyły wszystkie moje uczucia, wszystkie moje myśli. Być może, gdyby o tym wiedziała, wzruszyłyby ją, że przyjaciel wciąż pamięta, choć nie ma jej już wśród żywych; być może okazałaby teraz więcej wrażliwości w kwestiach, które dawniej pozostawiała ją obojętną. Ale tak jak od niewierności, planowanej choćby w największej tajemnicy, powstrzymuje nas lęk, że my także możemy zostać zdradzeni przez kobietę, którą kochamy, myślałem z obawą o umarłych: jeśli gdzieś nadal żyją, to moja babka wie, że o niej zapomniałem, tak samo dobrze, jak Albertyna wie, że pamiętam. I nawet gdyby chodziło o tę samą osobę, w ostatecznym rachunku trudno orzec, czy radość, że zmarła o czymś się dowie, zrównoważyłaby trwogę, jaką musi budzić myśl, że dowie się o wszystkim. I jakkolwiek rozpaczliwe byłoby to wyrzeczenie, czyż nie wolelibyśmy czasem zerwać stosunków ze zmarłymi z obawy, by nie stali się naszymi sędziami?

Moim zazdrosnym dociekaniom na temat prowadzenia się Albertyny nie było końca. Po jej śmierci zaznałem płatnej miłości nie wiedzieć ilu kobiet, ale niczego mi to nie

wyjaśniło. Jeśli żądza wiedzy była we mnie tak paląca, to dlatego, że człowiek nie umiera dla nas od razu cały, lecz nurza się jeszcze we fluidach życia, które nie mają w sobie nic z prawdziwej nieśmiertelności, przedłużają jedynie jego obecność w naszych myślach, tak jakby jeszcze żył, jakby tylko był w podróży; ta wizja zaświatów wydawała mi się jednak raczej pogańska. Bywa też odwrotnie: kiedy przestaliśmy kochać, dociekliwość, jaką rozniecił w nas drugi człowiek, umiera na długo przed jego śmiercią. Toteż nie kiwnąłbym nawet palcem, by dowiedzieć się, z kim się spotkała Gilberta pewnego wieczoru na Polach Elizejskich. Wiedziałem już, że ciekawość owa była zawsze tym samym, czymś w istocie błahym i przelotnym. Lecz i tak gotów byłem wiele poświęcić dla barbarzyńskiej radości nasycenia mej chwilowej pasji, choć z góry wiedziałem, że ta rozłąka z Albertyną, narzucona przez śmierć, przyniesie mi niebawem zubożenie, takie samo, jakie stało się kiedyś moim udziałem po dobrowolnym rozstaniu z Gilbertą. Tak czy inaczej, wysłałem Aimégo do Balbec. Przeczuałem, że tam, na miejscu, dowie się najciekawszych rzeczy.

Gdyby Albertyna mogła przewidzieć, co się wydarzy, wołałaby może zostać ze mną. Ale to znaczyło tyle tylko, że z dwojga złego życie ze mną było dla niej lepsze od śmierci. Ciągnąc te rozważania, wikłałem się w niedorzeczności; to do niczego nie prowadziło i nie pozostawało przy tym bez wpływu na stan mego serca. Już wyobrażałem sobie, z jaką to ulgą wróciłaby do mnie, gdyby mogła zawczasu przewidzieć, gdyby teraz jeszcze mogła odwrócić to, co się stało. Miałem ją przed oczyma jak żywą, chciałem wziąć w ramiona, lecz to było niemożliwe, ona nie mogła powrócić, umarła.

Moja wyobraźnia usiłowała odszukać ją w niebie, w nocie podobne do tamtych, kiedy jeszcze patrzyliśmy na niebo we dwoje. Ponad księżycową poświatę, którą tak lubiła, słałem ku niej wyrazy miłości, by były dla niej pocieszeniem — bo straciła życie. I moja miłość do istoty, która stała się tak nieskończenie daleka, miała w sobie coś z religijnych uniesień, myśli wznosiły się ku niebu niczym modlitwy. W pragnieniach jest siła zdolna zrodzić wiarę; kiedyś wierzyłem, że Albertyna mnie nie opuści, bo chciałem, by została. Teraz zaś pragnąc jej, uwierzyłem, że nie przestała istnieć. Zabrałem się do czytania książek o wirujących stolikach, nieśmiertelność duszy zaczęła mi się wydawać całkiem możliwa. Ale to było za mało. Trzeba mi było pewności, że po swojej śmierci odzyskam jej ciało: tak, jakbym chciał, żeby wieczność nie różniła się od życia doczesnego. Ależ nie tylko to! Żądałem jeszcze więcej. Nie chciałem być za sprawą jej śmierci na zawsze pozbawiony owych rozkoszy, które przecież nie tylko śmierć nam może odebrać. I bez niej skazane były na powolne usychanie, które już się zdążyło rozpocząć, pod połączonym wpływem starej nudy i nowych urzeczeń. Poza tym, gdyby Albertyna żyła, dzień za dniem zmieniałaby się po trochu także fizycznie, a ja oswajałbym się z tymi zmianami. Lecz moja pamięć, przechowująca tylko migawkowe wizerunki, chciała ją widzieć taką, jaką być już nie mogła, nawet gdyby żyła; żądałem cudu ocalenia przeszłości, zamknięcia jej na zawsze w naturalnych lub raczej narzuconych przeze mnie granicach pamięci. Z naiwnością godną scholastycznego teologa wyobrażałem ją sobie jako żyjącą istotę, gotową udzielać mi wyjaśnień, co byloby szczytem niemożliwości, bo nie tylko nie mogła ich już udzielić, lecz ponadto tych właśnie wyjaśnień nawet za życia zawsze mi odmawiała. Jeśli śmierć była czymś w rodzaju snu, moja miłość musiała się zmarłej wydać nieoczekiwanym szczęściem. Niewiele wiedziałem o śmierci prócz tego, że przynosi wygodne, pomyślne rozwiązanie, które wiele upraszcza i ułatwia wszystko.

Niekiedy wyobrażałem sobie, że spotykam Albertynę wcale nie na tamym świecie, lecz znacznie bliżej. Dawno temu, kiedy widywałem Gilbertę jedynie na Polach Elizejskich, gdzie się ze mną bawiła, po powrocie do domu snulem wieczorami podobne marzenia — że dostaję od niej miłosny liścik, albo też, że za chwilę pojawi się we własnej osobie; ta sama potęga pragnień, która lekceważy prawa fizyki stojące jej na przeszkodzie — i w samej rzeczy wtedy lekceważyła je słusznie, skoro zdołała dopiąć swego — teraz kazała mi oczekiwać listu od Albertyny; choć nie zapomniałem o tym, że spadła z konia, wierzyłem, że zaszły jakieś skomplikowane okoliczności, jakie rzeczywiście niekiedy miewają miejsce, gdy po długim czasie ktoś, kogo uznano już za zmarłego, powraca; że ona nie życzyła sobie, bym dowiedział się o jej ocaleniu, ale teraz, skruszona, chciała prosić, bym ją przyjął z powrotem, na zawsze. I choć miałem pełną świadomość, że przypadki łagodnego obłądzenia zdarzają się u osób, które skądinąd robią wrażenie rozsądnych, w mo-



im umyśle przeświadczenie o jej śmierci wcale nie kolidowało z nie słabnącą nadzieją, że ona lada chwila wejdzie do pokoju.

Nie było jeszcze żadnej wiadomości od Aimégo, choć musiał już dotrzeć do Balbec. Moje śledztwo bez wątpienia dotyczyło sprawy drugorzędnej i wybranej na chybił trafił. Jeśli życie Albertyny naprawdę było grzeszne, to z pewnością nie brakowało w nim ciekawszych punktów zaczepienia niż rozmowa o płaszczu kąpielowym albo nagły rumieniec. Ale dla mnie żadna z takich spraw nie zaistniała, bo niczego nie widziałem na własne oczy. Ów dzień, który miał zostać zrekonstruowany po paru latach, wybrałem według własnego uznania, zdając się na przypadek. Jeśli Albertyna lubiła kobiety, to dni spędzonych nie wiedzieć jak, utrzymywanych w tajemnicy przede mną, musiały być w jej życiu setki i każdy z nich mógłby mnie zainteresować. Nie musiałem posyłać Aimégo właśnie do Balbec, mogłem go równie dobrze wyprawić w różne inne miejsca. Ale te właśnie dni, kiedy robiła coś w tajemnicy przede mną, pozostały nieobecne w mojej wyobraźni, nigdy się w niej nie pojawiły. Sprawy i osoby zaczynały dla mnie istnieć dopiero pod warunkiem, że moja wyobraźnia była w stanie je wyodrębnić. Choćby krążyły gdzieś setki i tysiące im podobnych, to w moich oczach te widzialne i tak musiały wystarczyć za wszystkie. Jeśli udręczony własną podejrzliwością zapragnąłem się dowiedzieć, jak to było z owymi natryskami, to moja uwaga działała na tej samej zasadzie co wtedy, gdy rozpałały moją wyobraźnię domniemane kobiece żądze. Wiedząc, że nie brak wśród panien i pokojówek osób lekkich obyczajów i że równie dobrze mógłbym o nich także gdzieś usłyszeć przypadkiem, upierałem się poznać właśnie te dwie, o których mówił mi Saint-Loup, bo one tylko zadomowiły się w mojej wyobraźni: owa panna, co to bywała w domach schadzek, i pokojówka pani Putbus. Uciążliwości złego stanu zdrowia wraz z zadawnionym nawykiem odkładania wszelkich decyzji na później, z moim „dojutryzmem” — jak to nazywał Saint-Loup — utrudniały mi wprowadzenie w życie zamierzeń i kazały odmawiać sobie sprawdzania pewnych podejrzeń na równi z zaspokajaniem pragnień, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Tymczasem wciąż przechowywałem w pamięci niewyjaśnione fakty, obiecując sobie, że je zbadam w przyszłości, bo to właśnie one odbierały mi spokój (podczas gdy masa innych, nie obleczonej w kształty, dla moich oczu pozostała niewidoczna), skoro zaś zostały wyrwane z życia przypadkowo, mogłem liczyć na to, że dzięki nim uzyskam upragniony dostęp do rzeczywistości. Czyż drobny, jednostkowy fakt, jeśli został trafnie wybrany, nie może wystarczyć do sformułowania prawa ogólnego, które odsłoni prawdę o setkach faktów podobnych? Albertyna trwała w mojej pamięci tak, jak ją postrzegałem za jej życia: tylko w ułamkach chwil, które dopiero moja myśl składała w całość, nadawała im ciągłość i puszczala w ruch; i o tej właśnie postaci chciałem wyrobić sobie ogólne pojęcie, chciałem wiedzieć, czy mnie okłamywała, czy lubiła kobiety i czy po to uciekła, by móc być z nimi. Świadcstwo łaziebnej rozstrzygnęłoby może raz na zawsze moje wątpiwości co do obyczajów Albertyny.

Moje wątpiwości! Kiedyś wierzyłem, że rozstanie z Albertyną będzie dla moich uczuć rzeczą obojętną, a nawet pożądaną, i trzeba było, niestety, dopiero jej wyjazdu, abym zrozumiał, w jakim tkwiłem błędzie. I trzeba było jej śmierci, bym się przekonał, jak bardzo myliłem się, wyobrażając sobie czasami, że pragnę, by umarła i w ten sposób mnie od siebie wybawiła. Coś podobnego spotkało mnie znowu, kiedy przyszedł list od Aimégo, zrozumiałem bowiem, że jeśli dotąd nie cierpiałem zbyt okrutnie z powodu moich wątpiwości co do prowadzenia się Albertyny, to dlatego jedynie, że nie były to jeszcze wątpiwości prawdziwe. Do szczęścia, do życia potrzeba mi było, żeby dobrze się prowadziła, toteż raz na zawsze przyjąłem to za pewnik. Opancerzony tą wiarą, pozwalałem swoim melancholijnym myślom igrać z przypuszczeniami, którym rozum nadawał formę, ale im nie ulegał. Mówiłem sobie: „Może ona lubi kobiety”, tak jak się mówi: „Nie wiemy, czy dożyjemy jutra”, bo wypowiadając podobne słowa, sami nie dajemy im wiary, w tejże chwili myślimy już o jutrzejszych planach. Oto dlaczego — choć i wcześniej ulegałem bez wyraźnej przyczyny mniemaniu, że Albertyna lubi kobiety, i choć nie mogła się pojawić żadna poszlaka, wnosząca cokolwiek nowego, bo wszystko po wielokroć roztrząsałem — doznałem nieoczekiwanie najstraszliwszych cierpień, okrutniejszych niż kiedykolwiek do tej pory, gdy z listu Aimégo wyłoniły się obrazy, nie mające być może żadnego znaczenia dla innych. Z materią wspomnień, a nawet, ku mojej rozpacz, z wizerunkiem samej

Albertyny cierpienia te weszły, jak powiadają chemicy, w gwałtowną reakcję i powstał osad jednorodnej substancji, o której słowa Aimégo, przytoczone poniżej w ich pierwotnej formie, nie mogą dać żadnego wyobrażenia, bo każde z nich zostało już nieodwracalnie przetworzone, na zawsze stopione z bólem, jakiego stało się przyczyną.

„Wielmożny Panie, zechce mi Pan wybaczyć, że nie pisałem wcześniej. Osoba, z którą polecił mi Pan porozmawiać, wyjechała na dwa dni. Chcąc się okazać godnym zaufania, jakim mnie Pan łaskawie obdarzył, czekałem, by nie wracać z pustymi rękami. Przed chwilą miałem rozmowę z tą osobą, która pamięta bardzo dobrze (pannę A.). — Aimé, który lubił popisywać się obyciem, zamierzał wziąć „pannę A.” w cudzysłów. Ale kiedy chciał użyć cudzysłowu, stawał nawiasy, kiedy zaś chodziło mu o nawiasy, dawał cudzysłów. Podobnie Franciszka mówiła „stoi na naszej ulicy”, kiedy chciała o kimś powiedzieć, że przy niej zamieszkał, ale kiedy mówiła „pomieszka chwilę” to znaczyło, że przyszedł i pójdzie. Błędy prostych ludzi najczęściej polegają na odwracaniu znaczeń słów, rzecz dość częsta także w historii języka: w ciągu wieków niejedna para zamieniła się znaczeniami. — Według niej to, co Szanowny Pan przypuszcza, jest całkiem pewne. Przede wszystkim to ona miała pannę A. pod opieką za każdą jej bytnością w zakładzie kąpielowym. Panna A. bardzo często przychodziła brać natryski w towarzystwie wysokiej kobiety, starszej od niej, ubierającej się w szare suknie. Łazibna nie знаła jej z nazwiska, tylko z widzenia, bo pojawiała się często i zawsze poszukiwała towarzystwa młodych dziewcząt. Ale na inne już nawet nie spojrziała, odkąd poznała (pannę A.). Z panną A. zamykały się w jednej kabinie, bawiły tam długo, a potem ta dama ubrana na szaro dawała co najmniej dziesięć franków napiwku osobie, z którą rozmawiałem. Ma się rozumieć, że dawały dziesięć franków nie po to, żeby razem odmawiać różaniec — tak się wyraziła ta osoba. Panna A. przysłała też parę razy z mocno czerniawą młodą kobietą, która miała binokle z rączką. Ale najczęściej (panna A.) przychodziła z młodszymi od siebie, zwłaszcza z taką jedną rudą. Oprócz tej pani noszącej się na szaro wszystkie osoby, które panna A. przyprowadzała, były spoza Balbec, a niektóre nawet z daleka. Nigdy nie zamykały się od razu, tylko panna A. zawsze wchodziła pierwsza i kazała zostawić drzwi od kabiny otwarte, że niby czeka na przyjaciółkę, a ta osoba, z którą rozmawiałem, już dobrze wiedziała, o co tu chodzi. Nie może podać więcej szczegółów, bo ich nie pamięta, «co łatwo zrozumieć, po takim czasie». Zresztą starała się nic nie wiedzieć, dyskrekcja była w jej interesie, skoro panna A. dawała jej zarobić. Okazała szczerą i głęboką żal na wieść o tej śmierci. Tak młodo umrzeć, powiedziała, to straszne nieszczęście dla tej panny i dla jej bliskich. Czekam, żeby Pan zarządził, czy mam opuścić Balbec, bo myślę, że tutaj nic więcej nie wskoram. Dziękuję też Łaskawemu Panu za tę miłą podróż, która trafiła mi się przy okazji, a była ona tym przyjemniejsza, że pogodę mamy jak marzenie. Sezon tegoroczny zapowiada się wyśmienicie. W hotelu żywią nadzieję, że Pan się latem bynajmniej na parę dni pojawi.

Nic więcej nie mogę Panu na razie donieść”, itd.

Łatwiej będzie czytelnikowi zrozumieć, jak głęboko ugodziły mnie słowa tego listu, jeśli przypomni sobie, że pytania, które dręczyły mnie w związku z Albertyną, nie nasuwały się przypadkowo, ani też nie dotyczyły kwestii obojętnych, jakichś drobiazgów bez znaczenia. Takie bowiem stawiamy tylko w odniesieniu do osób, które nie są nami, i to pozwala nam w puklerzu myśli szczerze osłaniających nas przed światem zewnętrznym bezpiecznie przemierzać kłębowisko występku, kłamstwa, cierpienia i śmierci. Otóż nie; w związku z Albertyną stawałem sobie tylko pytania najwyższej wagi: „Kim naprawdę była? Co myślała? Kogo kochała? Czy moje życie z nią było równie żalosne, jak życie Swanna z Odetą?” Toteż odpowiedź Aimégo, która nie miała w sobie nic z ogólności, lecz przeciwnie, dotyczyła samych szczegółów — dlatego właśnie sięgała najskrytszych głębin w Albertynie i we mnie.

I oto wreszcie w owym obrazie Albertyny, podążającej wąską uliczką w stronę zakładu kąpielowego na spotkanie kobiety w szarościach, ujrzałem fragment nieznaną przeszłości, która wcale nie wydała mi się mniej groźna ani mniej tajemnicza niż wówczas, kiedy zaledwie się jej obawiałem, kiedy przeczuwałem ją, ukrytą w pamięci Albertyny i w jej spojrzeniu. Człowiek postronny nie zechciałby może poświęcać uwagi tym wszystkim drobiazgom; teraz jednak, kiedy Albertyna już nie żyła, nie mogłem z jej ust usłyszeć zaprzeczenia, i przez to w zdumiewający sposób domysły stawały się coraz bardziej praw-

dopodobne. Niewykluczone, że jeśli te informacje byłyby nawet prawdziwe i Albertyna przyznałaby się do wszystkiego, to jej wykroczenia (niezależnie od tego, czy w swoim sumieniu uznalaby je za niewinne, czy też karygodne, i czy jej zmysły przechowały pamięć rozkoszy, czy też niesmaku) musiałyby w moich oczach utracić owo piętno niewypowiedzianej grozy, która dotąd była od nich nieodłączna. W świetle moich własnych doświadczeń z kobietami, które kiedyś kochałem, próbowałem wyobrazić sobie jej przeżycia, a one musiały się przecież od moich nieco różnić. Załóżek cierpienia tkwił choćby w tym, że wyobrażałem ją sobie w szponach pożądania — jakie często bywało moim udziałem — zajętą tą lub tamtą dziewczyną i okłamującą mnie tak, jak ja sam ją okłamywałem, szastając dla nich pieniędzmi, jak ja dla panny de Stermaria, dla tylu innych, nie wspominając nawet o wieśniaczkach spotykanych w polu. Tak, jej żądze mogłem sobie w pewnej mierze wyobrazić, bo dobrze znałem swoje własne. I to już było cierpieniem samo w sobie, im żywiej bowiem kiedyś płonęły, w tym okrutniejszą się teraz obróciły torturę. W tej algebrze uczuć wszystkie zmienne powracały na dawne miejsca z właściwym sobie współczynnikiem, lecz opatrzone znakiem minus tam, gdzie przedtem był plus. Dla Albertyny, o ile mogłem sądzić, występne przyjemności, choćby je najstaranniej przede mną ukrywała, zdradzając się w ten sposób z poczuciem winy i obawą, że sprawi mi ból, nie były jednak niczym innym, jak codziennością; szykowała je sobie wedle upodobań, oglądała je na rześciste oświetlonej scenie wyobraźni, gdzie głos mają pragnienia; nie posunęłaby się do tego, by sobie owych rozkoszy odmówić, jeśli zaś chodzi o moją zgryzotę, wolała mi jej oszczędzić, ukrywając prawdę; te przyjemności i przykrości były po prostu częścią jej życia, które, jak każde, miało swoje przyjemne i przykre strony. Ja wszelako zostałem bez żadnego ostrzeżenia ugodzony w samo serce, nie była mi dana możliwość uporania się zawczasu z tym, co przyniósł list Aimégo — z obrazem Albertyny, która udając się pod natryski, odlicza monety dla łaźiebnej. A jednak tym mocniej ją teraz kochałem. Była daleko; czyjaś obecność rozprasza w nas to, co jest jedyną rzeczywistością — nasze myśli — i w ten sposób tłumi ból, a nieobecność go wzmacnia i wraz z nim roznieca na nowo miłość.

To bez wątpienia dlatego, że w milczącym, jednoczesnym nadejściu Albertyny i damy odzianej w szarości ujrzałem naznaczoną zawczasu schadzke, a może nawet stały zwyczaj oddawania się rozpuszceniu w zakładzie kąpielowym, dowód obycia z brudem tego świata, które jest niezbędne, by urządzić sobie podwójne życie i dobrze je zakamuflować; to dlatego, że w te obrazy wpisana była straszliwa pewność jej zepsucia, doznawałem gwałtownego fizycznego bólu, który już odtąd zawsze im towarzyszył. Ale ten ból nie pozostał bez wpływu na ich kształt. Nasz obraz rzeczywistości zależy od nastroju, w jakim przychodzi nam się z nią zmierzyć. A przecież ból zdolny jest wpływać na stan świadomości z tą samą siłą, co alkohol. Tak więc z mieszaniny bólu i domysłów powstała nowa jakość, coś całkiem różnego od uchwytnych dla osoby postronnej szczegółów, takich jak dama w szarościach, napiwek, zakład kąpielowy, uliczka, którą Albertyna nadchodziła równocześnie z tą drugą; ujrzałem ją oto na wolności, zanurzoną w tym nieznanym mi życiu utkany z grzechu i kłamstw, jakich nie byłbym w stanie sobie nawet wyobrazić. Mój ból błyskawicznie zredukował je do materii, z której powstały, i już nie widziałem ich w słonecznym świetle, jakie pada na rzeczy ziemskie; stały się dla mnie częścią jakiegoś innego świata, pejzażem obcym i przeklętym, obrazem piekieł. Piekieł było całe Balbec i wszystkie okoliczne miejscowości, skąd według Aimégo sprowadzała te młodsze od siebie dziewczęta, by je zabierać do zakładu kąpielowego. Dzięki znajomości z Albertyną miałem nadzieję odzyskać dostęp do tajemnicy, którą owiane było kiedyś Balbec moich marzeń i która prysła, gdy tylko przybyłem na miejsce; patrząc, jak idzie przez plażę, pragnąłem w swym szaleństwie, by nie okazała się cnotliwa. Teraz zaś wszystko, co miało związek z Balbec, przeniknięte było do cna inną, groźną tajemnicą uosobioną w tej dziewczynie. Nazwy stacji — Apollonville, Fétérne, Sogne, Maineville, Doncières, Incarville<sup>1436</sup> — brzmiały tak znajomo, tak kojąco, gdy je wieczorem, wracając od Verdurinów, słyszałem obwoływane na peronach; teraz myśl, że Albertyna mieszkała w jednej z nich, wybierała się na wycieczki do drugiej, a jeśli wsiadała na rower, to często docierała

<sup>1436</sup>Apollonville (...) Incarville — w oryginale: Apollonville... wpisać nazwy. [przypis tłumacza]

i do trzeciej — budziła we mnie niepokój bodaj większy niż ich widok oglądany przez okno wagonu po raz pierwszy, gdy z babką dojeżdżałem do nie znanego mi jeszcze Balbec.

Zazdrość ma w sobie moc odsłaniania przed nami nieznannej strony zdarzeń i uczuć, co daje początek tysięcznym domysłom. Zwykle wydaje się nam, że wszystko wiemy, że znamy nawet cudze myśli, bo w gruncie rzeczy niewiele nas one obchodzą. Wystarczy jednak, byśmy w potrzebie zapragnęli poznać je naprawdę, jak każdy, kto spala się w ogniu zazdrości, wówczas kalejdoskop przypuszczeń przyprawia nas o zawrót głowy i tracimy zdolność widzenia. Czy Albertyna mnie zdradziła? Z kim i w czyim domu? Którego dnia? Czy może wtedy, kiedy mi mówiła to lub tamto, a ja wypowiedziałem do niej takie a takie słowa, które zalegają mi w pamięci? — nic już nie wiedziałem. Tym bardziej nie mogłem wiedzieć, jakie żywiła wobec mnie uczucia, i skąd się brały, z wyrachowania czy z miłości. Naraz przypominałem sobie jakąś rzecz bez znaczenia, na przykład to, że pewnego dnia chciała pojechać do Saint-Martin-le-Vêtu, twierdząc, że zaciekała ją ta nazwa — a być może po prostu poznała jakąś wieśniaczkę z tamtych stron. Lecz cóż mi z tego, że Aimé dokładnie wypytał łaźiebnią, skoro Albertyna przez całą wieczność nie dowie się, o czym mi doniesiono. A przecież w dziejach tej miłości moje pragnienie poznania prawdy zawsze pozostawało w cieniu dojmującej potrzeby przekonania jej, że wiem o wszystkim. Tylko tak mogłem bowiem przełamać dzielący nas kordon rozbieżnych wyobrażeń. Ale ona w wyniku moich starań nie zaczynała mnie kochać ani trochę więcej, wprost przeciwnie. Otóż po jej śmierci owa druga potrzeba spłotła się we mnie z tym, co było efektem pierwszej: rozmowę, w której dałbym do zrozumienia, jakie poczyniłem odkrycia, wyobrażałem sobie równie żywo, jak tę, w której domagałbym się od Albertyny wyjawienia nie znanych mi faktów. To znaczy, że chciałem ją widzieć tuż obok, słyszeć jej łagodny głos, patrzeć, jak rumieniec oblewa jej policzki, jak oczy tracą kpiący błysk i smutnieją; to znaczy, mówiąc jeszcze prościej, chciałem ją tylko kochać, wyzwolony od zazdrosnej furii, szalejącej w rozpaczliwej pustce mojej samotności. Niepojęta śmierć, która stała się przyczyną wiecznej niemożności powiadomienia Albertyny, że wszystko wiem, i oparcia naszych stosunków na prawdziwej podstawie mojego odkrycia (którego dokonać mogłem być może jedynie dzięki temu, że jej już nie było), przesłoniła mi swym jeszcze boleśniej-szym smutkiem tajemnicę jej życia. I cóż? Tak bardzo pragnąłem powiadomić Albertynę, że wiem o zakładzie kąpielowym, tę samą Albertynę, która już nie istniała! Oto jeszcze jedno następstwo sprzeczności, która prowadzi do tego, że kiedy myślimy o śmierci, nie potrafimy wyobrazić sobie nic oprócz życia. Albertyna nie żyła, ale dla mnie nadal była tą, która ukrywa przede mną swoje schadzki z dziewczętami w Balbec, tą, której się wydaje, że bez trudu mnie oszuka. Czyż nawet wtedy, kiedy rozmyślamy o własnej śmierci, nie rzutujemy jedynie w przyszłość, za grób, wyobrażenia siebie samych, żyjących? I czy ubolewanie nad niewiedzą kobiety, która już nie istnieje, o naszych odkryciach w związku z tym, co robiła sześć lat temu, nie jest jeszcze głupsze, niż nadzieja, że po naszej śmierci czytająca publiczność zachowa nas we wdzięcznej pamięci przez następne stulecia? Jeśli nawet w tym drugim przypadku można dostrzec realne podstawy choć trochę solidniejsze niż w pierwszym, to rozpaczliwe drażnienie minionego czasu przez moją zazdrość miało za przyczynę rodzaj złudzenia optycznego; ulegałem mu przynajmniej w takim stopniu jak ci, którzy liczą na pośmiertną sławę. Lecz mimo że uroczysty smutek rzeczy ostatecznych, jakim tchnęła moja rozłąka z Albertyną, przesłaniał mi teraz obraz występku, to i tak rzucał on na nią swój cień, przypominając, że jej zepsucie stało się nieuleczalne. Zgubiłem w życiu drogę, stanąłem na bezkresnej plaży, zupełnie sam, i wiedziałem tylko, że w którąkolwiek ruszyłbym stronę, jej nie spotkam już nigdy.

Szczęśliwie jednak natrafiłem w swojej pamięci na coś bardzo użytecznego (jest tam zawsze rozmaitość rzeczy, jedne niebezpieczne, drugie zbawienne, wszystkie zalegają w nieładzie i tylko coraz to rozbłyskują światłem odbitym od innych). Szukając, niczym robotnik, narzędzia do pracy, którą przyszło mi wykonać, chwyciłem się słów mojej babki. Wypowiedziała je w związku z jakąś nieprawdopodobną historią, którą łaźiebna uraczyła panią de Villeparisis: „Widać, że to chorobliwa kłamczyni”. Właśnie to wspomnienie okazało się nader pomocne. Jakąż wartość mogły mieć zeznania, składane przez łaźiebnią na żądanie Aimégo? Zwłaszcza że przecież i tak nic nie widziała. Można brać natryski w towarzystwie przyjaciółek bez cienia zdrożnej myśli. Być może łaźiebna wyolbrzymiała wysokość napiwków tylko po to, by dodać sobie znaczenia. Wciąż jeszcze pamiętałem, jak

Franciszka utrzymywała z przekonaniem, że wie od mojej ciotki Leonii, jakoby miesięcznie miała ona „cały milion na wydatki”, co brzmiało jak brednia. Innym razem widziała rzekomo, jak moja ciotka dawała Eulalii cztery banknoty po tysiąc franków, gdy nie uwierzyłbym nawet w jeden banknot pięćdziesięciofrankowy złożony we czworo. Starałem się jak mogłem, i stopniowo udawało mi się skruszyć ową okrutną pewność, dopiero co zdobytą z tak wielkim i bolesnym trudem. Wciąż jeszcze miotałem się jednak między pragnieniem prawdy a obawą przed cierpieniem. W takiej chwili moja miłość była bliska zmartwychwstania, ale wraz z nią powróciłaby rozpacz z powodu utraty Albertyny, i uczyniłaby mnie może jeszcze bardziej nieszczęśliwym, niż byłem przed paroma godzinami, gdy pożerała mnie zazdrość. I właśnie zazdrość odżyła nieoczekiwanie w jakiejś myśli o Balbec, pod wpływem wspomnienia, które nigdy mnie jeszcze nie zabolalo i które wydawało się jednym z najbardziej niewinnych w zasobach mojej pamięci. Ujrzałem w wieczornym mroku, który gęstniał za oknami hotelowej jadalni, tłum miejscowych, którzy przyciskali nosy do szklanej tafli, by zajrzeć w głębię rześście oświetlonego akwarium, pełnego dziwnych stworzeń, skąpanych w jasności. Tymczasem, o czym nie pomyślałem nigdy, w tej gromadzie córki rybaków i dziewczyny ze wsi tłoczyły się pospołu z młodymi mieszczkami, zazdrosnymi o luksus, który w Balbec był nowością; jeśli nie brak środków, to skąpstwo i obyczaj kazały rodzicom tych panien odrzucić go i zganić. Wśród tych młodych dziewcząt na pewno prawie co wieczór była Albertyna, której wtedy jeszcze nie znałem i która bez wątpienia nie traciła okazji, by zaczepiwszy tę lub inną, spotkać się z nią chwilę później w ciemnościach, na piasku plaży albo w jakiejś pustej kabinie kąpielowej u podnóża skał. Nowa fala smutku załala mnie, gdy usłyszałem, niczym wyrok wygnania, odgłos windy: nie zatrzymała się na moim piętrze, pojechała wyżej. Ale jedyna osoba, której wizyty mogłem sobie życzyć, i tak nie przyjdzie już nigdy, bo nie ma jej wśród żywych. A mimo to wystarczyło, bym usłyszał, jak winda zatrzymuje się na naszym piętrze, i moje serce zaczynało bić jak szalone; mówiłem sobie przez chwilę: „Gdybyż to wszystko mogło okazać się snem! Może to ona wróciła, za chwilę zadzwoni do drzwi. Franciszka powie mi zaraz, raczej z przestachem niż gniewnie, bo zawsze była bardziej przesądna niż mściwa i żyjącej nie obawiała się tak, jak ducha: «Nie zgadnie panicz, kto przyszedł.»” Starałem się o niczym nie myśleć, brałem do ręki gazetę. Ale nie byłem w stanie czytać tych artykułów pisanych przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o prawdziwym bólu. O jakiejś banalnej piosence wyraził się jeden z nich: „Roztkliwia do łez” — choć ja byłbym się z niej śmiał, gdyby Albertyna żyła. Inny znów, skądinąd znany pisarz, tylko dlatego, że wiwatowano mu, gdy wysiadał z pociągu, utrzymywał, że spotkało go przeżycie „niezapomniane”, choć na jego miejscu wyrzuciłbym je z pamięci natychmiast. Jeszcze inny zapewniał, że gdyby nie ta okropna polityka, życie w Paryżu byłoby „absolutnie rozkoszne”, kiedy wiedziałem dobrze, że i bez polityki może ono być nie do zniesienia, choć mnie także wydałoby się rozkoszne, gdybym odzyskał Albertynę. Autor kroniki myśliwskiej napisał (było to w maju): „Dla myśliwych z prawdziwego zdarzenia nastąpiły czasy ciężkie i zgoła tragiczne, bo całkiem, ale to całkiem nie ma do czego strzelać”, a krytyk prowadzący rubrykę o wystawach stwierdzał: „Wobec takiego sposobu ekspozycji popadamy w skrajne przygnębienie, smutek wprost bezdenne...” Jeśli gwałtowność moich przeżyć kazała mi widzieć tylko kłamstwo i banał w słowach ludzi nie mających pojęcia o szczęściu i nieszczęściu, to z drugiej strony najbardziej błaha notatka, która dotyczyła Normandii albo Nicei, zakładów wodoleczniczych, Bermy czy księżnej de Guermantes, miłości, rozstania lub niewierności, podsuwała mi obraz Albertyny, zanim zdążyłem odwrócić wzrok, i znów zalewałem się łzami. Często zresztą nawet nie byłem w stanie zabrać się do lektury tych gazet, ponieważ sam gest ich rozkładania przypominał mi, że robiłem to samo, kiedy Albertyna jeszcze żyła, i że ona umarła; nie miałem dość siły, by otworzyć gazetę, wypadła mi z rąk. Każde z moich obecnych doznań przywoływało z przeszłości swój odpowiednik, rozplątane na dwoje, gdyż życie Albertyny zostało odcięte od mojego; nigdy nie miałem dość odwagi, by przeżyć do końca którąś z tych udreńczonych kalekich chwil, uwięzionych w moim sercu. Nawet wtedy, kiedy Albertyna stopniowo traciła swą niepodzielną władzę nad moimi myślami i uczuciami, cierpienie mogło powrócić w mgnieniu oka; wystarczyło, bym wszedł na chwilę do tego pokoju tak jak za czasów jej obecności, zapalił światło, usiadł przy pianoli. Albertyna żyła rozproszona w postaciach wielu pomniejszych domowych bóstw: w płomieniach świec, w gałce

u drzwi, w oparciu krzesła; a także w zjawiskach mniej uchwytnych, takich jak bezsenność albo stan rozgorączkowania przed pierwszą wizytą kobiety, której zapragnąłem. Mimo wszystko te nieliczne zdania, na które padł mój wzrok w ciągu całego dnia — albo też zdania kiedyś przeczytane, które teraz dobywały się z mojej pamięci — często wywoływały atak szaleńczej zazdrości. Nie musiały nawet dostarczać żadnych niezbitych argumentów świadczących o wiarołomności kobiet, wystarczyło, by poruszyły we mnie jakieś dawne wspomnienie związane z Albertyną. Rzucone na tło jakiejś zamierzchłej chwili, o której niezbyt często myślałem, więc nie zdążyła się wytrzeć od zużycia, chwila, która widziała Albertynę jeszcze żywą, jej grzechy stawały się naraz bliższe, bardziej namacalne, niepokojące i straszne. I wtedy gotów byłem zadawać sobie pytanie, czy aby na pewno łaziebna wyssała z palca swoje rewelacje. Najłatwiej byłoby poznać prawdę, gdybym wyprawił Aimégo do Nicei i kazał mu pokręcić się parę dni w pobliżu willi pani Bontemps. Jeśli Albertyna lubiłaby rozkosze, jakich kobieta może doznać z kobietą, jeśli to dlatego mnie opuściła, że nie chciała już dłużej być ich pozbawioną, to po odzyskaniu wolności natychmiast rzuciłaby się w ich wir, zwłaszcza że dobrze znała okolicę; być może pojechała do ciotki tylko po to, by tam łatwiej niż w moim domu zapewnić sobie te uciechy. Nie było w tym nic dziwnego, że śmierć Albertyny tak nieznacznie wpłynęła na treść mych obsesji. Póki żyła, najwięcej myśli, zasilających uczucie zwane miłością, przychodziło mi do głowy podczas godzin spędzanych bez niej. Przyzwyczajamy się mieć za przedmiot naszych myśli istotę, która nie jest obecna, i jeśli nawet jej nieobecność nie trwa dłużej niż kilka godzin, to i tak przez ten czas mamy do czynienia tylko ze wspomnieniem. Toteż jej śmierć niewiele zmieniła.

Kiedy wrócił Aimé, posłałem go do Nicei; w ten sposób nie tylko zaduma, tęsknota i wzruszenie, jakie budziła we mnie nazwa miasta, wywołująca choćby odległe skojarzenie z Albertyną, ale wszelkie moje działania, śledztwo, które zarządziłem, użytek, jaki czyniłem z moich pieniędzy — wszystko to było zwrócone ku Albertynie, miało dać mi wgląd w jej sprawy, i należałoby powiedzieć o całym tym roku mojego życia, że wypełniał go po brzegi najżywszy miłosny związek. Ale istoty, wokół której kręciło się to wszystko, nie było już wśród żywych. Powiadają, że człowiek może w jakiś sposób przetrwać śmierć w dziełach, w których pozostawił coś z siebie samego, jeśli był artystą. I w podobny sposób, niczym gałązka zaszczipiona na innym pniu, ciągle zielona, gdy konar, z którego ją wzięto, już usechł, zmarły wiedzie po śmierci dalsze życie w sercu bliskiej osoby.

Aimé wynajął sobie mieszkanie tuż obok willi pani Bontemps. Zawarł znajomość z jej pokojówką i właścicielem powozów do wynajęcia, z których korzystała Albertyna, biorąc dość często jeden z nich na cały dzień. Ale ci ludzie niczego nie zauważyli. W kolejnym liście Aimé powiadomił mnie o pewnej dziewczynie od praczki, którą Albertyna w jakiś szczególny sposób ścisnęła za ramię, kiedy ta odnosiła bieliznę. „Jak twierdzi, ta panna nigdy nie posunęła się dalej”. Posłałem Aimému stosowną sumę pieniędzy jako zwrot poniesionych przez niego kosztów i należną zapłatę za ból, zadany mi tym listem, ból, który jednocześnie próbowałem zwalczyć, powtarzając sobie, że chodzi o przejaw zwykłej poufałości, bez śladu zdróżnych żądz; dostałem jednak depezę od Aimégo: „Dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Moc nowin dla Pana. List w drodze”. Nazajutrz przyszedł ów list; sam widok koperty przejął mnie dreszczem. Poznałem, że to list od Aimégo, bo każdy człowiek, nawet ubogi i prosty, na swoje usługi ma własne oswojone małe robaczki, które ożywają na papierze, choć wydają się martwe, i nadają jego pismu cechy niepowtarzalne, wyjątkowe.

„Z początku dziewczyna od praczki nic mi nie chciała powiedzieć, zapewniała mnie, że panna Albertyna uszczypnęła ją tylko w ramię, nic więcej. Żeby rozwiązać jej język, wziąłem ją na obiad i dałem wino. Wtedy wyznała mi, że często spotykała się z panną Albertyną nad brzegiem morza, by zażywać wspólnej kąpieli. Że panna Albertyna zrywała się wczesnym rankiem, bo lubiła pływać, i miała zwyczaj udawać się zawsze w to samo miejsce, zarosnięte drzewami tak gęsto, że z drogi nic nie było widać, zresztą nikogo tam nie było o tej porze. Później dziewczyna zaczęła przyprowadzać swoje przyjaciółeczki i kąpały się wszystkie razem; w tamtych stronach słońce mocno praży, nawet w cieniu drzew jest gorąco, więc kładły się potem na trawie, żeby obeschnąć, i baraszkowały, laskotały się, pieściły. Przyznała mi się pracusia, że bardzo lubiła tak się zabawiać z przyjaciółkami. A że panna Albertyna się ciągle o nią ocierała przez swój kąpielowy szlafroczek, to ona

go z niej zsuwała, by wargami pieścić jej szyję i ramiona, i nawet stopy panna Albertyna podsuwała jej do pocałunków. Sama też zrzuciła odzienie i dla zabawy popychały się nawzajem do wody; w tamten wieczór już nic więcej nie powiedziała. Ale chcąc wypełnić Pańskie polecenie, gotów byłem wszystko uczynić, byle Pana zadowolić. Wziąłem więc sobie do łóżka tę małą. Spytała, czy chcę, żeby zrobiła mi to samo, co pannie Albertynie, kiedy ta zdejmowała kostium kąpielowy. Powiedziała mi: — Gdyby pan widział tę pannienkę, jaka była wniebowzięta, jak drżała, wołała: «Rozpalasz mnie do białości!», i była tak roznamiętniona, że aż gryzła, nie mogła się powstrzymać. — Był jeszcze ślad zębów na jej ramieniu. I rozumiem pannę Albertynę, bo ta mała jest w samej rzeczy zręczna”.

Ileż się nacierpiałem w Balbec, kiedy mi Albertyna wyznała, że przyjaźni się z panną Vinteuil. Ale wtedy, mając ją jeszcze tuż obok, mogłem u niej szukać pocieszenia. Potem robiłem wszystko, by śledzić każdy jej krok, lecz uzyskałem tylko tyle, że ode mnie uciekła; kiedy Franciszka przyniosła mi wiadomość o jej wyjeździe, cierpiałem jeszcze więcej. Lecz tamta Albertyna, którą kochałem, nie opuściła mnie, pozostała w moim sercu. Teraz zaś miałem ponieść karę za to, że zbyt daleko posunąłem się w swej dociekliwości, której nawet śmierć, na przekór rozsądkowi, nie położyła kresu; i oto jej miejsce zajęła jakaś obca dziewczyna, która omotywała mnie siecią niezliczonych kłamstw i wybiegów; gdy dawna, uległa Albertyna zapewniała mnie, że nie zna takich żądź, ta nowa, pijana odzyskaną wolnością, ruszyła nurzać się w nich bez pamięci, by nad Loarą, o wschodzie słońca, gryząc ramię młodej praczki, zawołać: „Rozpalasz mnie do białości!” Była to Albertyna zupełnie od tamtej różna, nie tylko w tym sensie, jaki przypisujemy słowu „różny”, odnosząc je do obcych ludzi. Kiedy pan de Charlus mówi mi, że także jest smutny, to obaj mówimy to samo. Ale choć stan naszych umysłów jest podobny, nie możemy pomóc jeden drugiemu. Smutek wyrasta z egoizmu, dlatego nie uleczy go nic, co się z nim samym bezpośrednio nie wiąże. Panu de Charlus przysporzyła cierpienie istota, która nie była Albertyną, więc jego ból wydawał mi się nieskończenie daleki. Jeśli inni nie są tacy, jak myśleliśmy, niezbyt głęboko nas to porusza; na zewnątrz nas wahadło przypuszczeń może zakreślić tylko taki łuk, jakim sięga w nasze wnętrze; toteż postrzegamy odmiennosc innych ludzi w sposób najbardziej powierzchowny. Jeśli dawniej zdarzyło mi się posłyszeć o jakiejś pannie, że gustuje w kobietach, nie miałem jej przez to za istotę nie z tej ziemi, odmienną od wszystkich pozostałych. Lecz kiedy rzecz dotyczy tej, w której sami jesteśmy zakochani, próbujemy uwolnić się od bolesnych wątpliwości, gromadząc wiedzę nie tylko o tym, co czyniła, ale także, co przy tym czuła i jaką miała na swój własny temat opinię; w ten sposób, schodząc coraz głębiej i głębiej, poprzez warstwy cierpienia docieramy do sedna tajemnicy. Ciekawość, która wprawiła w ruch wszystkie siły mojego umysłu i podświadomości, skazała mnie na mękę, na ból obezwładniający, przenikający do szpiku kości, rozdzierający serce; cierpiałem i bałem się bardziej, niż gdybym umierał. Toteż dowiadując się wszystkiego o Albertynie, oglądałem w wyobraźni równie przepastne głębie jej przeżyć. Jej rozwiązała natura okazywała się rzeczywistością i docierało to do najgłębszych warstw mojej świadomości wraz z bólem i rozpaczą, choć później owa świadomość miała mi się bardzo przysłużyć. Podobnie jak krzywdy wyrządzone babce, te, których sam doznałem od Albertyny, były jedyną, ostatnią nitką, jaka mnie z nią jeszcze łączyła, trwalszą nawet niż wspomnienie jej twarzy, albowiem dzięki zasadzie zachowania energii w świecie materialnym, cierpienie, by trwać, nie musi odwoływać się do pamięci: zapominamy nocne spacerunki po lesie skąpanym w księżycowym świetle, ale zawsze będzie nam się dawał we znaki reumatyzm, któregośmy się wtedy nabawili.

Miała takie gusta, choć nie chciała się do nich przyznać, ja zaś doszedłem do prawdy nie przez beznamiętne rozważania, lecz w straszliwej udręce, jaką zadały mi te słowa: „Rozpalasz mnie do białości!”; wśród męczarni ujrzałem jej upodobania jako część całości, nie zaś obcy element, w rodzaju muszli, którą wlecze rak pustelnik: były raczej jak sól, która, dodana do roztworu innej soli, wytrąciła osad, zmieniając nie tylko barwę, lecz również fizyczne właściwości. Wyobrażałem sobie, jak dziewczyna od praczki mówi do swoich przyjaciółek: „Kto by to pomyślał, wyobraźcie sobie, ta panna też jest z takich” — i dla mnie oznaczało to coś więcej niż rozpoznanie zboczenia, którego z początku się nie domyślały, potem zaś uzupełniły nim swoje pojęcie o Albertynie; słowa te głosiły raczej odkrycie, że w rzeczywistości była kimś innym, niż się z daleka wydawało, kimś takim jak te dziewczęta, kto mówi ich językiem, a im bardziej mogły ją uważać za swoją,

tym mocniej odczuwałem jej obcość. To, co w niej znałem i co nosiłem w sercu, to była zaledwie jej maleńka cząstka, podczas gdy cała reszta przybierała wymiar nieskończoności, nieporównywalny ze skalą jej własnych występnych uczynków — już same w sobie były one faktem tyleż doniosłym, co tajemniczym — bo swe żądze dzieliła z innymi, niezmiennie ukrywając je przede mną. Utrzymywała mnie w niewiedzy, jak ktoś, kto kłamie z konieczności, bo pochodzi z nieprzyjacielskiego kraju i jest szpiegiem; lecz Albertyna postąpiła jeszcze bardziej zdradziecko niż kobiety, które trudniąc się szpiegostwem, ukrywają swą narodowość, ona bowiem zataiła przede mną tę najintymniejszą prawdę: że nie była taka jak wszyscy, że należała do obcej i dziwnej rasy, wmieszanej dla niepoznaki między ludzką wspólnotę, z którą jednak nigdy się nie połączy.

Znałem dwa obrazy Elstira, przedstawiające nagie kobiety wśród dzikich zarośli. Na pierwszym młoda dziewczyna unosiła stopę w takim samym geście, jaki musiała uczynić Albertyna, podając ją młodej praczce do pocałunku. Na drugim popycha do wody inną dziewczynę, która udając, że się opiera, unosi udo i zanurza stopę w błękitnej toni. Przypominałem sobie podciągnięte udo Albertyny, będące częścią meandrycznego kąta, jaki tworzyła jej noga zgięta w kolanie, tuż obok mnie, w moim łóżku; często chciałem jej powiedzieć, że przywodziła mi na myśl owe dwa obrazy. Za każdym razem zdążyłem ugryźć się w język, by nie skierować jej myśli ku nagim kobiecym ciałom. Wyobrażałem ją sobie razem z dziewczyną od praczki wśród przyjaciółek, i grupa, jaką tworzyły, nawiązywała do tamtej, którą tak bardzo lubiłem w Balbec, gdzie sam byłem dopuszczony do kręgu. Gdybym był bezinteresownym miłośnikiem piękna, musiałbym przyznać, że tym razem Albertyna zgromadziła wokół siebie jeszcze piękniejszą grupę nagich bogiń z marmuru, podobnych tym, które natchnieni rzeźbiarze rozrzucili po ogrodach wersalskich, między drzewami albo pośrodku sadzawki, by woda obmywała i pieściła ich odbicia. Albertyna, gdy ją widziałem obok młodej praczki, stawała się dla mnie po prostu dziewczyną na brzegu morza, odczułem to pełniej niż kiedykolwiek w Balbec; podwójny akt kobiecy w marmurze, w otoczeniu bujnej roślinności, na poły zanurzony w toni, jak posągi na dziobach okrętów. Wspominając jej ciało rozciągnięte na moim łóżku, miałem wrażenie, że widzę znów udo i zgięte kolano, widziałem je naprawdę, ale niewyraźnie, równie dobrze mogła to być wyciągnięta w górę szyja zuchwałego łabędzia, który chce pocałunku od nieznannej mi dziewczyny. I nie było już uda, tylko szyja łabędzia, który na jakimś migotliwym szkicu olejnym odnajduje usta Ledy, wstrząsanej spazmami rozkoszy w specyficznym kobiecej pozie; a skoro nie ma przy niej nikogo prócz łabędzia, tym bardziej narzuca się wrażenie, że jest sama. Podobne narzucić się może, gdy rozmawiamy przez telefon, modulacje głosu bardziej bowiem zwracają uwagę, kiedy nie towarzyszy im mimika rozmówcy, zdolna uczynić je bardziej czytelnymi. W owym malarskim studium rozkoszy zabrakło drugiej postaci kobiecej, zastąpił ją bierny łabędź, toteż uwaga skupia się na tej, której doznanie jest tematem szkicu. Chwilami łączność między moim sercem i pamięcią urywała się; to, co Albertyna robiła z praczką, stawało się dla mnie abstrakcją na podobieństwo wyrażen algebraicznych, nie mających żadnego odniesienia do namacalnej rzeczywistości. Ale po sto razy na godzinę w obwodzie następowało zwarcie i moje serce bez ratunku smażyło się w piekielnym ogniu wyładowań, gdy Albertyna, wskrzeszona z martwych przez moją zazdrość, naprawdę żywa, omdlewała w ramionach dziewczyny od praczki, szepcząc: „Rozpalasz mnie do białości!”

Skoro była żywa w chwili, kiedy oddawała się występкови, to znaczy w tej właśnie chwili, która dla mnie jeszcze trwała, nie wystarczało mi, że wiem o wszystkim, nade wszystko pragnąłem dać jej do zrozumienia, że wiem. I rozpaczałem, że więcej jej nie zobaczę, a mój żal nosił piętno zazdrości. Był to już inny żal, niż kiedy górę brała we mnie miłość; oplakiwałem jedynie straconą szansę wypowiedzenia tych słów: „Myślałaś, że nigdy się nie dowiem, co robiłaś po swoim wyjeździe, a widzisz? — wiem wszystko, nawet o praczce znad Loary, szeptałaś do niej «Rozpalasz mnie do białości», widziałem ślad ugryzienia!” Próbowałem, rzecz jasna, przemówić sobie samemu do rozsądku: „Nie ma się o co zamartwiać. Tej, która zażywała rozkoszy z małą praczką, nie ma już wśród żywych, i cokolwiek zrobiła, teraz to nic nie znaczy. Nie może sobie pomyśleć, że wszystko wiem. Ale nie może też pomyśleć sobie, że nic nie wiem, bo w ogóle nic już myśleć nie może”. Lecz zdrowy rozsądek ustępował wobec siły argumentu, jakim stało się wyobrażenie potajemnych rozkoszy, zdolne przenieść mnie w minioną chwilę, kiedy to Albertyna



ich doznawała. To, co czujemy i co istnieje tylko dla nas, z uporem rzutujemy na obraz przeszłości i przyszłości, i wcale nie zbija nas z tropu zawsze nie dość rzeczywista kurtyna śmierci. Jeśli moja żaloba pozostawała w takich chwilach pod wpływem zazdrości, przyjmując formę dość szczególną, to ów wpływ rozciągał się w sposób naturalny na moje okultystyczne rojenia, na rozmyślenia o nieśmiertelności, tam bowiem szukałem dróg prowadzących do spełnienia moich marzeń. Gdybym mógł ją przywołać do wirującego stolika, czego Bergotte nie uważał za rzecz niemożliwą, albo gdybym spotkał się z nią w zaświatach, co uważał za rzecz możliwą ksiądz X., wyrzuciłbym z siebie jednym tchem: „Wiem o pracze. Szeptając: «Rozpalasz mnie do białości.» Widziałem ślad zębów”.

Z dziewczyną od praczki pomogła mi się uporać — co prawda dopiero kiedy minęło trochę czasu — właśnie ona sama, ta dziewczyna. Naprawdę bowiem jesteśmy w stanie chłonąć tylko to, co nowe, to, co gwałtownie wdziera się w nasze uczucia i przynosi uderzającą odmianę ich tonacji; to, czego jeszcze nie tknęło przyzwyczajenie, które wykradłszy nam nasze prawdziwe przeżycie, podrzuca na jego miejsce bladą kopię! Lecz przede wszystkim przyszło mi z pomocą rozproszenie, jakiemu ulegał we mnie obraz Albertyny, te rozliczne fragmenty, na jakie się rozpadał, nieskończona wielość Albertyn, która stała się teraz jedynym możliwym dla niej sposobem istnienia. Powracały do mnie pojedynczo różne chwile, całą jej osobowość sprowadzając do jednej jedynej cechy, którą mogła być na przykład łagodność, innym razem dowcip, to znów powaga albo zamilowanie do sportów. Czyż nie była pożyteczną ta mnogość fragmentarycznych obrazów, która niosła mi ukojenie? Jeśli bowiem minione chwile były czymś nierzeczywistym, tak zależnym od form mojej pamięci, jak treść obrazów powstających niegdyś w latarni magicznej zależna była od barwnych szkielek przezroczy — czyż na swój sposób mnogość ta nie wyrażała pewnej prawdy, i to prawdy niepodważalnej: że nikt z nas nie jest monolitem, każdy gromadzi w sobie cały tłum postaci, którym prawość przypisywać można w różnym stopniu? Że jeśli nawet wykolejona Albertyna istniała w rzeczywistości, nie przeszkadzało to wcale istnieniu innych Albertyn, na przykład tej, która lubiła w swoim pokoju porozmawiać ze mną o Saint-Simonie; albo tej, która ze smutkiem powiedziała mi owego wieczoru, kiedy twierdziłem, że powinniśmy się rozstać: „Ta pianola, ten pokój — pomyśleć, że już ich więcej nie zobaczę”, a kiedy ujrzała lzy, które wycisnęło mi z oczu moje własne kłamstwo, zawołała z najszerszym współczuciem: „Och, nie, w żadnym razie nie chcę, byś cierpiał. Więc postanowione — postaram się zniknąć ci z oczu”. I oto nie byłem już sam. Czulem, że znika mur, który mnie od niej oddzielał. Powróciła Albertyna miła i dobra, odzyskałem tę jedyną osobę, zdolną uleczyć ból zadany mi przez którąś inną spośród Albertyn. Co prawda, nadal pragnąłem nade wszystko powiedzieć jej o dziewczynie od praczki, ale nie było już w tym triumfalnego okrucieństwa, nienawistnej radości wykazania jej, że wiem wszystko. Otóż zrobiłem to samo, co byłbym uczynił, gdyby żyła: spytałem ją łagodnie, czy ta historia o małej praczce jest prawdziwa. Ona przysięgała, że nie, i pośpieszyła zapewnić mnie, że Aimé nie grzeszy prawdomównością. Musiał pokazać, że uczciwie zapracował na sumę, którą mu wypłaciłem, nie chciał wracać z pustymi rękami, wyciągnął więc od dziewczyny to, co podobało mu się usłyszeć. Oczywiście Albertyna i teraz nie wyrzekła się kłamstwa. Ale mimo jej skłonności do wykrętów zaczynałem czuć, że osiągnąłem pewien postęp. Już nie musiałem się upierać, że naprawdę nigdy nie zdobyła się na żadne zwierzenie, choćby mimochodem, w jakimś zdaniu, które mi umknęło na początku naszej znajomości: nie pamiętałem. Poza tym jej sposoby określania różnych rzeczy bywały tak zaskakujące, że każde słowo, jakie od niej słyszałem, mogło równie dobrze oznaczać cokolwiek innego. Wkrótce jednak wyczuliła moją zazdrość i to zmusiło ją do gwałtownego odwoływania wyznań, uczynionych zbyt pochopnie. A zresztą teraz już nie musiała nic więcej mówić. Pocałunek wystarczył, bym przestał wątpić w jej niewinność. Runął bowiem mur między nami, twardy, choć niewidoczny, jak ten, który po sprzecze wyrasta między kochankami i nie pozwala na pocałunki; oto znów mogłem ją całować. Tak, nie musiała nic mówić. Biedne dziecko, czegokolwiek pragnęła i cokolwiek zrobiła — uczucia, wznoszące się ponad to, co nas rozdzieliło, mogły mnie z nią na powrót połączyć. Jeśli historia o małej praczce była prawdziwa i jeśli Albertyna skrywała przede mną swoje skłonności, to jedynie dlatego, że chciała oszczędzić mi zmartwień. Ze wzruszeniem chłonałem te słowa z ust owej łagodnej Albertyny. Czy zresztą znałem inną? Dwie są najważniejsze przyczyny nieporozumień w naszych stosunkach z kimś bliskim:

dobroć i miłość. Zakochujemy się w uśmiechu, w spojrzeniu, w zarysie ramion. To nam wystarcza. I z tego, w ciągu długich godzin nadziei albo smutku, złożymy potem całość, stworzymy postać. Później, kiedy będziemy się z tym kimś spotykać, już nie będziemy umieli, nawet wobec okrutnej jednoznaczności tego, co w nim ujrzemy, wyzbyć się wyobrażenia o dobroci i miłości owej istoty o sobie właściwym spojrzeniu, o znajomym zarysie ramion — których to cech nie przestaniemy w niej dostrzegać, nawet kiedy się postarzeje, bo przywykliśmy do nich od czasów jej młodości. Wywoływałem z pamięci spojrzenie tamtej Albertyny, pełne dobroci i współczucia, jej krągłe policzki, świeżość skóry na jej karku. Był to wizerunek umarłej; ale skoro po śmierci żyła nadal, mogłem od razu uczynić to, co uczyniłbym bez wątpienia, gdyby wróciła żywa — i co uczyniłbym również, spotkawszy ją w zaświatach: przebaczyłem jej.

Chwile przeżyte z tą Albertyną były mi tak drogie, że nie chciałem z nich nic uronić. Tak jak się zbiera okruchy roztrwonionego majątku, i ja gromadziłem pieczołowicie to, co wydawało się już utracone: pewnego razu, wiążąc szalik z tyłu zamiast z przodu, przypomniałem sobie pewną przechadzkę, do której nigdy jeszcze nie wracałem we wspomnieniach. Żeby chronić moje gardło przed chłodem, Albertyna, ucałowawszy mnie przedtem, tak samo mi go wtedy zawiązała. Ten niczym się nie wyróżniający spacer, wydobyty z pamięci przez jeden prosty gest, sprawił mi taką radość jak jakiś przedmiot codziennego użytku, pamiątka po nieżyjącej już ukochanej osobie, przyniesiona nam przez jej starą służącą, która wie, że dla nas będzie to rzecz bezcenna. Poczulem się w swoim smutku bogatszy o zdarzenie z szalikiem, tym bardziej że wypłynęło z całkowitego zapomnienia. Przeszłość można smakować tylko po plasterku, tak samo jak przyszłość; nie da się jej pochłoniąć w całości.

Mój smutek przybierał zresztą tak różne odcienie, że chwilami sam go już nie rozpoznawałem. Pragnąłem wielkiej miłości, chciałem znaleźć kogoś, kto zostałby ze mną na całe życie, i to zdawało się świadczyć, że nie kocham już Albertyny, podczas gdy w rzeczywistości był to znak, że kocham ją wciąż tak samo. Albowiem potrzeba wielkiej miłości, tak jak tęsknota za krągłymi policzkami Albertyny, które chciałem całować, była częścią mojego żalu. I w gruncie rzeczy byłem zadowolony, że nie porwała mnie żadna nowa miłość. Rozumiałem, że niegasnące i bezgraniczne przywiązanie do Albertyny było cieniem miłości, którą niegdyś czułem, znajdowały w nim swoje odzwierciedlenie wszelkie jej aspekty i podlegało ono tym samym prawom, co uczucia, od których odgradziła mnie jej śmierć. Dobrze wiedziałem, że gdybym miał wystarczająco długą chwilę wytchnienia od owych myśli o Albertynie, przestałbym ją kochać. W mojej miłości powstałaby szczelina, a w niej rozpleniłaby się obojętność, taka sama, z jaką myślałem teraz o babce: już od tak dawna jej nie wspominałem, że ciągłość pamięci została zerwana, a przecież ciągłość jest rzeczą w życiu najistotniejszą; by ją przywrócić, znów potrzeba czasu. Czyż nie było podobnie z moją miłością do Albertyny, póki jeszcze żyła? Moje uczucie musiało rodzić się od nowa, kiedy przez dłuższy czas była nieobecna w moich myślach. Moje wspomnienia także podlegały tym prawom, nie znosiły żadnych dłuższych przerw; pamięć była jak zorza polarna — po śmierci Albertyny świeciła odbitym światłem mojej miłości i cień, który rzucała, był cieniem tejże miłości. Musiałbym najpierw wszystko zapomnieć, by wtedy dopiero zauważyć, że bez miłości żyje się rozsądniej i bardziej szczęśliwie. Żal po Albertynie — bo to on kazał mi tęsknić za jakąś siostrzaną istotą — zarazem skazywał ową tęsknotę na niespełnienie. I w miarę jak żal opadał, tęsknota za serdeczną bliskością, najbardziej nieświadoma forma tego żalu, także traciła na sile. Lecz te dwa pragnienia, relikty mojej miłości, nie ulegały jednakowo gwałtownym procesom rozpadu. Chwilami byłem zdecydowany się ożenić, tak głęboka zapaść dotknęła pierwsze z nich, podczas gdy drugie wciąż wydawało się nienaruszone w swej żywotności. I na odwrót, kiedy w późniejszym czasie wspomnienia już nie rozpały we mnie zazdrości, podnosiła się czasem w moim sercu fala ciepłych uczuć dla Albertyny, i wówczas, rozmyślając o innych kobietach, w których się kochałem, mówiłem sobie, że Albertyna rozumiałaby te uczucia, że byłaby je podzielała; wówczas jej skaza zbliżała ją do mnie. Niekiedy zazdrość ożywała we mnie w chwilach, kiedy nawet nie pamiętałem o Albertynie, chociaż jej właśnie dotyczyła. Coś takiego wydarzyło się chyba wtedy, kiedy usłyszałem przypadkiem o jakimś romansie Anny. Anna okazywała się bowiem w tym wypadku tylko figurantką, używającą swego imienia komu innemu, była gniazdkiem obocznej instalacji, łączącej mnie pośrednio

z Albertyną. Coś podobnego zdarza się nam, kiedy we śnie przypisujemy komuś inną twarz i obce nazwisko, lecz jego tożsamość mimo wszystko nie budzi w nas najmniejszej wątpliwości. Krótko mówiąc, niezależnie od fluktuacji, zakłócających w różnych szczególnych przypadkach działanie ogólnego prawa, uczucia, z jakimi pozostałem po śmierci Albertyny, nie blakły równie szybko jak wspomnienie tej, która była ich przedmiotem. Dotyczyło to nie tylko uczuć, także doznań fizycznych. Różniłem się w tym od Swanna: kiedy przestał kochać Odetę, nie pamiętał już wcale porywów tej miłości, ja zaś wciąż na nowo przeżywałem przeszłość, która teraz, prawdę powiedziawszy, była historią obcego człowieka. Moje ja rozdzieliło się w jakiś sposób na dwoje, i gdy górna warstwa zdążyła już dawno stwardnieć i ostygnąć, dolna rozpałała się od każdej przypadkowej iskry, zdolnej w zapomnianym, rozpadającym się obwodzie wywołać zwarcie jeszcze wtedy, kiedy wizerunek Albertyny w moim umyśle uległ już zatarciu. A skoro bolesnym skurczom serca i łzom — które wyciskał mi z oczu zimny wiatr, targający kwitnącymi różowo gałęziami jabłoni tak samo jak w Balbec — nie towarzyszył już teraz żaden obraz, zadawałem sobie pytanie, czy nawrót bólu nie ma przypadkiem czysto fizjologicznej przyczyny i czy to, co uznałem za przejaw żywotności wspomnień w schyłkowej fazie miłości, nie oznacza po prostu początków jakiejś choroby serca.

Przy pewnych dolegliwościach zdarza się, że objawy uboczne pacjent bierze za istotę choroby. Kiedy zaś ustępują, nie chce wierzyć, że jest dalszy od powrotu do zdrowia, niż mógł się spodziewać. Tak też było z moją chorobą, lub raczej jej powikłaniem wywołanym przez listy Aimégo, w których rozpisywał się o zakładach kąpielowych i praczkach. Gdyby mnie wówczas zbadał jakiś lekarz dusz, stwierdziłby zresztą, że co do melancholii mój stan się poprawił. Rzecz jasna, będąc człowiekiem, czyli czymś podobnym do tych stworzeń zdolnych do życia zarówno w wodzie, jak na lądzie, istotą zanurzoną w przeszłości i jednocześnie oddychającą chwilą obecną, mogłem nadal podtrzymywać w sobie dwie sprzeczne rzeczywistości: wspomnienie Albertyny jako żyjącej osoby i świadomość jej śmierci. Ta sprzeczność była w jakimś sensie odwróceniem innej, wcześniejszej. Myśl, że Albertyna umarła, z początku uderzała tak gwałtownie w mój nawyk wyobrażania jej sobie jako żywej, że wołałem przed ową myślą uciekać niczym dziecko przed nadchodzącą falą. Lecz fala zalała w końcu, dzięki tym niestrudzonym nawrotom, obszar niedawno jeszcze oddany we władanie obrazom Albertyny żywej. Nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że pamięć o jej śmierci wyparła wspomnienie żyjącej i zalegała teraz całą przestrzeń moich na pół świadomych przeżyć do tego stopnia, że gdybym nagle zawiesił myślenie i przyjrzał się sobie, zdziwiłoby mnie wcale nie to co w pierwszych dniach mojej żałoby — że Albertyny, wciąż tak żywej we mnie, nie ma już na świecie — ale rzecz zupełnie inna: że Albertyna, której nie ma już na świecie, nadal we mnie żyje. Moja myśl tkwiła tak długo w ciemnym tunelu spojonym z bloków pamięci, że te mury stały się dla mnie niewidoczne. Ale czas je nadkruszył i przez szczelinę wtargnęło światło słoneczne, pieszczące w oddali pogodny błękit niebios, wobec którego Albertyna mogła stać się już tylko uroczym i nieważkim wspomnieniem. Czy to właśnie ta jest prawdziwą Albertyną — zdumiewałem się — a nie tamta, oglądana w ciemnościach tunelu, którą przez tak długi czas miałem za jedyną i niezastąpioną? Ktoś, kim byłem jeszcze niedawno, i kto żył tylko nieustającym oczekiwaniem na pojawienie się Albertyny, na jej wieczorny pocałunek, wydawał mi się teraz jednym z wielu możliwych do pomyślenia i zarazem najsłabszym z nich, już na poły ode mnie oderwanym, niczym opadający płatek kwiatu; i poczułem w sobie ożywczą moc, rodzącą się z odrzucenia tego, co zwiędnięte. Te krótkotrwałe olśnienia ukazywały mi zresztą tym wyraźniej moją miłość do Albertyny, albowiem nawet najdłużej utrzymujące się mniemanie potrzebuje zaprzeczenia, które je utwierdzi. Na przykład, jak utrzymują niektórzy z pamiętających wojnę 1870 roku, wojna ta spowszedniała im nie dlatego, że za mało byli nią przejęci, lecz wprost przeciwnie — bo myśleli o niej bez przerwy. I żeby pojąć, jak dziwnym i strasznym doświadczeniem jest wojna, musieli wyzwolić się od swych obsesyjnych myśli i na chwilę zapomnieć o tym, że wojna właśnie trwa. Dopiero powróciwszy do stanu umysłu z czasów pokoju, mogli zobaczyć białe tło, na którym groza wojennej rzeczywistości, niewidoczna jedynie dlatego, że wszechobecna, nareszcie rysowała im się wyraźnie.

Wspomnienia o Albertynie były w odwrocie, wszystkie ich chorągwie, i gdyby jeszcze cofały się w zwartym szyku na całej linii mojej pamięci, a nie uchodziły pojedynczymi

oddziałami, gdyby szeregi przykładów niewierności dotrzymywały kroku formacjom ciepła i dobroci, wówczas zapomnienie przyniosłoby mi ulgę. Ale było inaczej. Utknąłem, niby na przyładku odcięty przez przyływ, pod ostrzałem rozmaitych domysłów, gdy wojska, unoszące wspomnienia jej łagodnej obecności, były już za daleko, by przyjść mi z odsieczą.

Cierpiałem z powodu jej niewierności, bo jeśli nawet chodziło o zdarzenia sprzed lat, dla mnie wiedza o nich była całkiem świeża; z czasem jednak cierpiałem coraz mniej, wspomnienia bladły, w rzeczywistości bowiem miara oddalenia zależy raczej od siły naszego wzroku, gdy patrzymy wstecz, niż od liczby dni, które upłynęły; mgliste i niewyraźne wspomnienie snu z ostatniej nocy może nam się wydawać bardziej zamierzchłe niż zdarzenie, które miało miejsce wiele lat temu. Lecz choć świadomość śmierci Albertyny zdobywała we mnie coraz to nowe terytoria, wciąż powracało poczucie, że ona żyje, i jeśli nie mogło powstrzymać tamtego procesu, to w każdym razie komplikowało go, wywołując zamieszanie. Zapewne dlatego, że zapomnienie już pochłonęło miesiące klauzury, które Albertyna spędziła w moim domu i którym zawdzięczałem wytchnienie od dręczących podejrzeń (występek wydawał mi się wtedy rzeczą nikłej wagi jedynie dlatego, że ona była wystarczająco dobrze strzeżona; miesiące owe stały się powielanym w nieskończoność alibi) — teraz spadła oto na mnie męka codziennego obcowania z pewną myślą, nową tak samo jak pewność, że Albertyna umarła, bo przecież dotąd moim punktem wyjścia były wyobrażenia żyjącej: z myślą, którą wcześniej uznałbym za niemożliwą do przyjęcia i która, zanim się obejrzałem, piędź po piędzi przeorała moją świadomość i wypeniła z niej moje przekonanie o niewinności Albertyny. Była to myśl, że Albertyna jest winna. Przez cały czas, kiedy wydawało mi się, że wątpię w tę winę, skrycie w nią wierzyłem; i w końcu podstawą swoich dalszych rozważań uczyniłem przeświadczenie o jej winach, wciąż jeszcze wyobrażając sobie, że mu nie ulegam — bo często podawałem jej w wątpliwość, tak samo jak przedtem opinię przeciwną.

Wiele cierpień musiałem znieść w owym czasie, wszystkie one były jednak nieuniknione. Nie możemy wyleczyć się z bólu, póki go nie przeżyjemy w całej pełni, bez reszty. Gdy bronilem Albertynie kontaktów ze światem, gdy uparcie wmawiałem w siebie, że jest niewinna, i gdy potem zakładałem w swych rozważaniach, że Albertyna żyje — opóźniałem tylko zakończenie choroby, odpychałem bowiem od siebie to, co prowadziło do wyzdrowienia: długi szereg godzin wypełnionych nieodzowną udręką. Przyzwyczajenie zaś, wzięwszy we władanie moje sądy o winach Albertyny, poddawało je działaniu tych samych praw, których doświadczyłem już nieraz w ciągu mojego życia. W nazwie „Guermantes” zabrakło z czasem pełnej uroku drogi wśród nenufarów, jak również witrażu z postacią Gilberta Zlego; obecność Albertyny utraciła błękitny odcień morskich fal, a nazwisko Swanna albo księżnej de Guermantes nie oznaczało już tego samego co kiedyś, podobnie jak słowo „liftboj” oraz wiele innych; z całej ich treści, z całego uroku zachowało się we mnie tylko brzmienie, które widocznie dojrzało już na tyle, że mogło żyć osobno. Jak ktoś, kto w ciągu paru tygodni przyuczał służącego do jego obowiązków, po czym przestał się nim zajmować, ból, jaki niosła myśl o winach Albertyny, ustąpił wobec przyzwyczajenia. Miało ono zresztą dwóch potężnych sprzymierzeńców, gotowych wziąć tę myśl w dwa ognie i wspomagać się wzajemnie w natarciu. Z jednej strony, w miarę jak powszedniało mi przeświadczenie o winach Albertyny, stawało się coraz mniej bolesne. Lecz z drugiej strony, im mniej sprawiało mi bólu, tym mniejszy budziło sprzeciw, umysł mój bowiem wytaczał przeciwko niemu hipotezy o jej niewinności tylko dlatego, że obawiał się cierpień zbyt dotkliwych — toteż upadały jedna po drugiej. Za sprawą tych dwóch wspierających się wzajemnie sił dane mi było dość szybko przemierzyć drogę od pewności, że Albertyna była niewinna, do przekonania o jej winie. Musiałem mierzyć się przez jakiś czas z myślą o jej śmierci i o jej występnej naturze, bym mógł się do nich obu przyzwycząć, inaczej mówiąc, bym zdołał o nich zapomnieć, bym zdołał na koniec zapomnieć samą Albertynę.

Ale jeszcze do tego nie doszedłem. Czasami moja pamięć, wyostrzona przez gorączkę umysłu, jak to się zdarzało na przykład w trakcie lektury, na nowo wtrącała mnie w przygnębienie; niekiedy zaś, na odwrót, przygnębienie, wywołane na przykład napięciem nadciągającej burzy, wynosiło na powierzchnię uczuć, ku światłu, jakąś pamiątkę po naszej miłości.

Nawroty miłości do Albertyny, która już nie żyła, rozsiane były zresztą wśród długich okresów obojętności, kiedy pochłaniały mnie inne sprawy, okresów podobnych do tego, który zapoczątkowała kiedyś w Balbec odmowa pocałunku, po czym przez długi czas zajęty byłem bardziej panią de Guermantes, Anną i panną de Stermaria, póki miłość do Albertyny nie powróciła pod wpływem częstszych spotkań. Podobnie było teraz, coraz to co innego odciągało moje myśli od Albertyny — już umarłej — i wtedy stawała mi się jeszcze bardziej obojętna. Ale wciąż we mnie żyła. I nawet znacznie później, gdy coraz mniej ją kochałem, tęsknota pozostała jednym z tych uczuć, które szybko wywołują znużenie, ale wystarczy chwila wytchnienia, by wybuchły na nowo. Uganiałem się za inną kobietą, potem za następną, by w końcu powrócić do mojej zmarłej. Zdarzało się czasem, kiedy nie byłem już w stanie przywołać czytelnego obrazu Albertyny, że w najciemniejszych zakamarkach mojego wnętrza jakieś przypadkowe słowo rozniecało nagle ból, którego nawet bym się nie spodziewał; podobnie w agonii, kiedy ustała już praca myśli, mięśnie wciąż jeszcze odpowiadają skurczem na ukłucie igły. Niekiedy, w ciągu długich okresów, chwile podobnej nadwrażliwości przychodziły tak rzadko, że zaczynałem już sam poszukiwać sposobności do smutku, powodów do zazdrości, by znaleźć się bliżej minionego czasu, ożywić wspomnienia. Tęsknota za kochanką zawsze bowiem w istocie jest odradzającą się miłością i podlega tym samym co miłość prawom; toteż siła mojej tęsknoty wzrastała pod działaniem tych samych przyczyn, które podsycały moją miłość za życia Albertyny — a wśród nich poczesne miejsce zajmowała zazdrość i ból. Lecz mimo wszystko okazje do smutku najczęściej nadarzały się same z siebie — choroba, tak jak wojna, potrafi trwać dłużej, niż ktokolwiek rozsądny mógłby przewidzieć — i wstrząsały mną tak gwałtownie, że musiałem zatroszczyć się raczej o własne przetrwanie, niż uganiać się dalej za pamiątkami po miłości.

Słowo nie musiało mieć zresztą bezpośredniego związku z moimi podejrzeniami, by je znowu obudzić. Nawet pojedyncza sylaba, napotkana przypadkiem w innym słowie, mogła zadziałać jak drucik, wystarczający do zamknięcia obwodu elektrycznego, mogła przywrócić przepływ prądu między moim sercem i Albertyną; tak jak nazwa „Chaumont”, każde słowo okazać się mogło magicznym zaklęciem, otwierającym wrota Sezamu przeszłości, którą dawno już utraciliśmy, znużeni nią do tego stopnia, że przestała do nas należeć: uległa amputacji i nawet uwierzyliśmy już, że chirurgiczne cięcie odmieniło naszą osobowość, jakby to była figura geometryczna, której odjęto jeden z wierzchołków. Jakieś zdanie, w którym padała nazwa ulicy, o ile sądziłem, że Albertyna mogła na niej kiedyś bywać, wystarczało, by wstąpiła we mnie zazdrość dotąd bezcielesna, nie istniejąca, szukająca dopiero kształtu, przyczyny, jakiegoś punktu zaczepienia w rzeczywistości, jakiegokolwiek sposobności, by się objawić.

Często po prostu kiedy spałem, w jakiejś reprzyzie, w jakimś *da capo* snu, który musiał naraz przerzucić wstecz wiele zapisanych stronic pamięci, cofnąć grube pliki kart kalendarza, by przenieść mnie w czasie w bolesną, lecz dawno minioną chwilę, która zniknęła już, przesłonięta chmurą późniejszych faktów, by oto nagle znów stać się teraźniejszością. Inscenizacja była zazwyczaj niezbyt staranna, ale przejmująca; ludziła oko i ucho, rzucając mnie w sam środek wydarzenia, które odtąd miało być opatrzone datą tej nocy. Czyż zresztą w dziejach miłości opierającej się zapomnieniu sen nie odgrywa roli większej niż jawa? Nie zna bowiem rachuby czasu, uchyla działanie reguł, łączy przeciwieństwa, w jednej chwili zrywa gobelin otuchy, utkany mozolną pracą całego dnia, i urządza nam po nocach schadzki z tą, o której może zdołalibyśmy wreszcie zapomnieć, gdybyśmy nie spotkali jej nigdy więcej. Cokolwiek o tym powiadają, sen potrafi w sposób niezawodny obudzić w nas wiarę, że wszystkie jego zdarzenia są prawdziwe. Albowiem jedynie doświadczenie jawy mogłoby nas przed tym ustrzec, doświadczenie, do którego właśnie nie mamy dostępu. I tylko dlatego ten nieprawdopodobny świat snu wydaje się nam rzeczywistością. Czasami jakiś defekt maszynierii mojej wewnętrznej sceny kładł całe widowisko, bo choć niezła inscenizacja nadawała wspomnieniom pozór prawdziwego życia, utrzymując mnie w przekonaniu, że naprawdę umówiłem się z Albertyną i że się z nią spotkałem — nie byłem jednak w stanie uczynić nawet kroku w jej stronę ani też dobyć głosu, by wypowiedzieć właściwe słowa; świeca gasła, ja zaś nie mogłem jej zapalić, żeby popatrzeć na Albertynę. Niemożność, której doświadczałem, nie była niczym innym jak właśnie przejawem niemoty, bezwładu i ślepoty człowieka pogrążonego we śnie.

Podobna rzecz zdarza się niekiedy podczas wyświetlania przezroczy, gdy olbrzymi czarny cień, który powinien być w ogóle niewidoczny — cień samej latarni magicznej albo też tego, kto ją obsługuje — zakłóca projekcję, pochłaniając pejzaże i postacie. Kiedy indziej w moim śnie zjawiała się Albertyna, by jeszcze raz mnie opuścić, ale jej decyzja już mnie nie poruszała. Z mojej pamięci przypadkiem przedostał się bowiem w mroki snu ostrzegawczy promień światła i padł na Albertynę, odbierając jej zapowiedzianemu wyjazdowi jakiegokolwiek znaczenie: była to świadomość, że Albertyna umarła. Lecz często jeszcze wyrazistsze wspomnienie o jej śmierci splatało się ze świadectwem moich własnych zmysłów, które mówiły mi, że ona żyje, przy czym jedno nie wadziło drugiemu. Rozmawiałem więc z nią, a w tym czasie w głębi pokoju krzątała się moja babka. Brakowało jej części podbródka, ukruszonego niczym zwietrzały marmur, ale ja nie widziałem w tym nic osobliwego. Zapowiadałem Albertynie, że muszę jej zadać parę pytań w związku z zakładem kąpielowym w Balbec i pewną małą praczką z Turenii, ale odkładałem to w końcu na później, widząc, że czasu mamy pod dostatkiem i nic już nie skłania mnie do pośpiechu. Albertyna przysięgała mi, że nie robiła nic złego, jeśli nie liczyć tego, że wczoraj pocałowała w usta pannę Vinteuil. „Jak to? Więc ona tu jest?” — „Tak, i nawet za chwilę będę musiała zostawić cię samego, bo właśnie się do niej wybieram”. A że od śmierci Albertyny już nie trzymałem jej pod kluczem, jak w ostatnim okresie jej życia, zapowiedziana wizyta u panny Vinteuil bardzo mnie zaniepokoiła. Ale nie dałem po sobie tego poznać. Zapewniała mnie, że nie będzie nic prócz pocałunków, lecz czułem już, że znowu kłamie, tak samo jak w owym czasie, kiedy absolutnie wszystkiego się wypierała. I można się było obawiać, że gdy pobiegnie za chwilę do panny Vinteuil, na pocałunkach wcale nie poprzestaną. Wiedziałem, że z pewnego punktu widzenia nie ma powodu do obaw, przecież mówi się, że zmarli nic już nie czują, nic nie mogą zdziałać. Tak się tylko mówi, myślałem, bo jednak moja babka, która umarła wiele lat temu, przez cały ten czas żyje w najlepsze i nawet w tej chwili chodzi po pokoju. Po przebudzeniu, rzecz jasna, owo życie umarłej musiało stać się dla mnie tak samo niepojęte, jak dla kogoś, komu miałbym to wytłumaczyć. Lecz objawiało mi się ono tyle razy w owych okresach przelotnego obłądzenia, jakimi są nasze sny, że w końcu przestało mnie dziwić. Wewnętrzna pamięć snu może osiągnąć stan trwałości, jeśli nawiedza on nas wystarczająco często. Być może lepiej niż ktokolwiek inny zrozumie mnie — o ile wyzdrowiał i odzyskał rozsądek — pewien człowiek, który chcąc przekonać odwiedzających zakład dla chorych umysłowo, że on jeden nie jest, wbrew opinii lekarza, wariatem, przeciwstawiał przytomność swego umysłu szalonym urojeniom innych chorych, a w końcu mówił tak: „Spójrzcie na tamtego, z pozoru jest normalny, wcale nie znać po nim obłądzenia, nieprawdaż? Ale on sobie wyobraża, że jest Chrystusem. Co za brednia, Chrystusem jestem przecież ja”. Jeszcze długo po przebudzeniu nie mogłem ochłonąć z powodu tych pocałunków, dowiedziawszy się o nich od Albertyny, której głos wciąż jeszcze dźwięczał mi w uszach. I w samej rzeczy musiałem dobrze słyszeć jej słowa, były bowiem moimi. Przez cały dzień toczyłem rozmowy z Albertyną, wypytywałem, udzielałem przebaczeń, przypominałem sobie rzeczy, które zawsze chciałem jej powiedzieć, kiedy jeszcze żyła. I naraz przestraszył mnie ogarniał mnie na myśl, że wspomnieniu postaci, które przywoływałem, do którego kierowałem swoje przemowy, nie odpowiada już w świecie rzeczywistym żadna istota; że rozpadła się z powrotem na tysiąc części, które jedynie uparta wola życia, dziś już zepchnięta w niebyt, spajała kiedyś w całość obdarzoną indywidualnością.

Zdarzało mi się po nocy bez snów budzić się z poczuciem, że w moim umyśle kierunek wiatru uległ zmianie. Mroźny podmuch nadciągał z innych niż dotąd stron przeszłości, przynosząc dalekie kuranty zegarów, gwizdy odjeżdżających pociągów, odgłosy, których prawie nigdy nie zdarzało mi się słuchać. Próbowałem zająć się czytaniem. Sięgnąłem po powieść Bergotte'a, do której byłem szczególnie przywiązany. Lubilem jej pozytywne bohaterów, jej urok wkrótce mną oświadczył po raz kolejny, i znów zapragnąłem, niby osobistego zadośćuczynienia, kary dla złej kobiety; oczy mi zwilgotniały, gdy już zbliżało się szczęśliwe dla narzeczonych zakończenie. „Lecz wobec tego — pojąłem nagle z rozpaczą — z wagi, jaką zachowały dla mnie uczynki Albertyny, wcale nie wynika, że jej istnienie jest czymś rzeczywistym, co nie może zostać przekreślone, i że pewnego dnia spotkam ją w niebie taką jak dawniej — skoro tyle żarliwego współczucia i niepokoju budzi we mnie postać z powieści, skoro do łez mnie wzrusza na koniec jej szczęście, choć przecież

zrodziła się w umyśle Bergotte'a, ja zaś nie spotkałem jej i nigdy naprawdę nie istniała, a co do jej wyglądu, mogę go sobie wyobrazić jak mi się podoba". Poza tym w owej powieści występowały uwodzicielskie dziewczęta, liściki miłosne, opustoszałe alejki były miejscem spotkań, i to wszystko przypomniało mi, że miłość bywa potajemna. Odezwała się we mnie zazdrość, jak gdyby Albertyna mogła jeszcze przechadzać się po pustych alejkach. Występował tam także mężczyzna, spotykający po pięćdziesięciu latach kobietę, którą kochał za młodu. Zrazu jej nie rozpoznał, a jej towarzystwo go znudziło. To znów przypomniało mi, że miłość nie trwa wiecznie, i doznałem mieszanych uczuć, jakbym to ja sam, rozdzielony z Albertyną, miał ją jeszcze odnaleźć, lecz dopiero na stare lata, gdy nie znajduję dla niej nic prócz obojętności. Patrząc na mapę Francji, spłoszonym wzrokiem omijałem Turenję, żeby oszczędzić sobie bolesnych ataków zazdrości, a także Normandię, by nie jątrzyła mego żalu, tam bowiem zaznaczone były przynajmniej Balbec i Doncières, a między nimi liczne drogi, które przemierzaliśmy wspólnie tak wiele razy. Wśród niezliczonych miast i miasteczek Francji wiele miało nazwy przemawiające tylko do mojego słuchu albo też tylko do wzroku, lecz nazwa „Tours” wydawała się zbudowana z innej substancji, nie z nieuchwytnych wyobrażeń, ale z trucizny o natychmiastowym działaniu, która atakowała moje serce, przyspieszając jego uderzenia i czyniąc bolesnym każde z nich. Jeśli w polu najbardziej bezpośrednich skojarzeń z Albertyną mogła objawić się tak wielka siła, zdolna zawładnąć nazwami i nadać im wyjątkowe właściwości, to nie było w tym nic dziwnego, że i na mnie oddziaływała w sposób nieodparty; mogła równie dobrze zogniskować się w jakiejś innej kobiecie, siła ta była bowiem wypadkową w gmatwaninie snów, pragnień, przyzwyczajzeń i wzruszeń, pozostającą na przemian pod wpływem to szczęścia, to znów rozpaczy. Zwielokrotniała echa śmierci. Pamięć bowiem zdolna jest przechować prawdziwą esencję naszego życia, która jest niematerialna. Pamiętałem, jak Albertyna, wysiadając z wagonu kolejki, oświadczyła, że chce jechać do Saint-Martin-le-Vêtu. W jeszcze wcześniejszym wspomnieniu widziałem ją w dżokejce nasuniętej na oczy. Wyszukiwałem rozmaite możliwości szczęścia i rwało się ku nim moje serce; powtarzałem sobie: „Mogliśmy jechać we dwoje aż do Quimperle, aż do Pont-Aven”. Nie było takiej stacji w tamtych stronach, po której nie błąkałoby się wspomnienie Albertyny; okolice Balbec stały się dla mnie jakąś mityczną krainą, w której ożywały historie najbardziej zamierzchłe i najpiękniejsze, legendy całkiem już zatarte przez późniejsze koleje naszej miłości. Jakież męki spadłyby na mnie, gdybym tylko znów spoczął na moim hotelowym łóżku w Balbec! Nad jego nieruchomą miedzianą ramą przetoczyło się moje życie, fortuna obróciła się wokół jego osi. Poprzez beztroskie pogawędki z babką, grozę jej śmierci, słodycz pieszczot Albertyny doszedłem do odkrycia występku, a teraz zaczynało się dla mnie życie całkiem nowe, w którym widok odbicia morskich fal w oszklonych drzwiach biblioteki uprzytomni mi, że Albertyna nie pojawi się tu już nigdy! Czyż hotel w Balbec nie przypominał owej jedynej dekoracji, jaką dysponuje prowincjonalny teatr, który przez lata zdążył w niej wystawić najróżniejsze sztuki? Przydała się i do komedii, i do tragedii, potem do następnej tragedii, potem był poemat sceniczny; fundamenty tego hotelu sięgały głębin mojej przeszłości, jego mury widziały kolejne epoki mojego życia. I tylko on opierał się zmianom. Jego ściany, szafy, lustra tym wyraźniej dawały mi odczuć, że pośród niezmienności zmienia się to jedynie, co nie jest jego częścią — ja sam. Dostrzegałem tę regułę, której nie zauważają dzieci, póki wierzą — pełne optymizmu czy może raczej pesymizmu — że wszelkie tajemnice życia, miłości i śmierci dotyczą innych, że one same nigdy nie będą z tym miały do czynienia. Po latach dopiero widzimy, że zrosiliśmy się z naszym losem w jedno ciało, i budzi się w nas coś w rodzaju bolesnej dumy.

Próbowałem dla odmiany czytać gazetę.

Ale czytanie gazet okazywało się równie okropne, a przy tym także nie było całkiem bezpieczne. Każda bowiem z naszych myśli, krzyżujących się jak leśne dukty, może rozwinąć się we wszystkich kierunkach, i oto w najbardziej nieoczekiwanej chwili stawałem przed nowo odkrytym wspomnieniem. Tytuł melodii Faurégo, *Sekret*, prowadził mnie do *Sekretu królewskiego* księcia de Broglie, a znów jego nazwisko do nazwy „Chaumont”. Albo

też słowa „Wielki Piątek” przypominały mi o Golgocie, a Golgota odsyłała mnie do swojej etymologii — jak sądziłem, słowo to było odpowiednikiem łacińskiego *Calvus mons*, czyli „Chaumont”. Lecz jakąkolwiek drogą dotarłbym do Chaumont, doznawałem w tym momencie tak gwałtownego wstrząsu, że postanawiałem na przyszłość, zamiast puszczać się w pogoń za wspomnieniami, chronić się raczej przed okrutnym bólem. W ciągu paru chwil po takim urazie, jak grzmot, spóźniony w stosunku do błysku pioruna, nadciągała świadomość jego przyczyny. Nazwa „Chaumont” skojarzyła mi się z Buttes-Chaumont: od pani Bontemps wiedziałem, że Anna często jeździła tam z Albertyną, choć Albertyna utrzymywała, że nigdy tam nie była. Począwszy od pewnego wieku, plątanina naszych wspomnień rozpościera się wszędzie, do tego stopnia, że nie ma już znaczenia, o czym myśleliśmy, jaką czytaliśmy książkę. Wszędzie zostawiliśmy część siebie samych, każdy grunt jest tak samo żyzny i tak samo niebezpieczny, toteż z reklamy mydła możemy wyczytać odkrycia równie wstrząsające jak z *Mysli* Pascala.

Sprawa, która wiązała się z Buttes-Chaumont i która w swoim czasie wydawała mi się błahostką, nie przemawiała przeciwko Albertynie w sposób tak zdecydowany i jednoznaczny, jak tamte historie z małą prачką i zakładem kąpielowym. Lecz przede wszystkim, gdy przypadek wydobędzie któreś z naszych wspomnień, znajdzie w nas ono nieknięty potencjał wyobraźni — w tym wypadku potencjał cierpienia; może się on okazać po części wyczerpany tylko wówczas, gdyśmy owego wspomnienia poszukiwali z rozmysłem. Poza tym obydwie, łaziebna i prачka, były nieustająco obecne w mojej pamięci, choć ukryte w cieniu; przywykłem do nich niczym do mebli stojących w półmroku korytarza, na które nie wpadamy, choć przyzwyczajenie uczyniło je niewidocznymi. Lecz tak dawno już nie myślałem o Buttes-Chaumont albo na przykład o spojrzeniu Albertyny, pochwyconym w lustrze kasyna w Balbec, albo o jej nie wyjaśnionym spóźnieniu, kiedy tak długo czekałem na nią po powrocie z wieczoru u Guermantów; te obce mojemu sercu obszary jej życia pragnąłem przemierzać, zdobywać i przyłączać, by stały się częścią mnie, by zaludniły je oswojone wspomnienia, wśród których żyła moja własna, oddana mi, wewnętrzna Albertyna. Gdy uchylałem ciężkiej zasłony przyzwyczajień — która przez całe życie skrywa przed nami świat, utrzymuje nas w niewiedzy i zamiast niebezpiecznych i upajających trucizn, obiecujących niewyobrażalne rozkosze, każe nam w ciemności, w jakiej wszelkie etykiety są nieczytelne, pochwyć flaszkę z lekiem na uspokojenie — obstępowały mnie wspomnienia, tak ostre i wyraziste, jakby zapisały się zaledwie przed chwilą. Miały w sobie świeżość wstępującej pory roku, której nadejście wytrąca nas z codziennej rutyny, również gdy chodzi o przyjemności: jeśli wybierzemy się na przejażdżkę powozem pierwszego dnia wiosny albo wyjdziemy z domu o wschodzie słońca, każdą najzwyklejszą rzecz przeżyjemy w głębokim uniesieniu, a pełnia tej jednej chwili przewyższy wartością wszystkie minione dni. (Oto znowu czekałem, po wyjściu z wieczoru u księżnej de Guermantes, na powrót Albertyny). Upiływające dni z wolna zasłaniają nam te dawniejsze i same z kolei nikną. Każdy z nich przechowujemy w sobie jednak pieczołowicie niczym egzemplarz biblioteczny, wśród innych starodruków, o które nikt już nigdy nie poprosi. Ale obraz takiego dnia przebija czasem przez przejrzyste warstwy kolejnych epok i objawia się naszym oczom w całej okazałości, a wtedy nazwiska odzyskują na chwilę zapomniany wydźwięk, ludzie znów mają swe dawne oblicza, my zaś odnajdujemy w sobie ducha minionych czasów, by z lekkim bólem, który da się znieść i który nie potrwa długo, na nowo poczuć nierozwiązywalność ówczesnych naszych problemów. Nasze ja powstało przez nakładanie się na siebie wszystkich kolejnych stanów. Ale struktura ta nie jest, jak przekrój geologiczny, niezmienna. Zawierania nieustająco wynoszą fragmenty najstarszych warstw ku powierzchni. Po wieczorze u księżnej Marii de Guermantes czekałem zatem na Albertynę. Co robiła tamtej nocy? Czy zdradziła mnie? Z kim? Nawet jeśli miałbym przyjąć do wiadomości rewelacje Aimégo, nie mogły one ani o jotę zmniejszyć bolesnej, rozpaczliwej żądy wiedzy, jaką wzbudzały we mnie te nieoczekiwane pytania, tak jakby każda z niezliczonych Albertyn, tkwiących w tych wspomnieniach, stwarzała mojej zazdrości odrębny problem, nie poddający się rozwiązaniu, jakie znalazłem dla poprzedniego.

Lecz nie wystarczyłoby mi wiedzieć, z którą kobietą spędziła ona tamtą noc, chciałem więcej. Jakiej to rozkoszy wtedy doznawała, jakich przeżyć? Czasami, kiedy w Balbec po nią posyłałem, dowiadywałem się później od Franciszki, że ją zastała wychyloną



przez okno, niespokojną, jakby kogoś poszukującą rozbieganym spojrzeniem. Przypuścimy, że oczekiwała Anny, ale w jakim stanie ducha wypatrywała jej przez okno, jakie myśli skrywał ten niespokojny wzrok? Co to dla niej znaczyło, mieć takie skłonności, na ile zaprzętały one jej uwagę? Niestety, wiedziałem dobrze, jak bardzo mnie samego poruszał widok młodej dziewczyny, jeśli mi się podobała, a niekiedy dość mi było coś o niej usłyszeć, nie widząc jej nawet. Wiedziałem, jak mnie samemu zależało, żeby przystojnie wyglądać i pokazać się od najlepszej strony, znałem zimne poty onieśmienia, i by udręczyć samego siebie, nie musiałem już nic więcej uczynić, dość mi było wyobrazić sobie, jak owa gorączka zmysłów trawi Albertynę; jak gdybym był podłączony do tego aparatu, na którego wynalezienie czekała ciotka Leonia, która życzyła sobie, by doktor mógł poczuć na własnej skórze wszystkie jej bóle i zrozumieć, na co jest chora. Już to było dla mnie męczarnią, że domyślałem się, jak niewiele musiały znaczyć dla Albertyny solenne rozważania o Stendhalu i Wiktorze Hugo, w które ją wciągałem, kiedy jej serce wyrывało się ku obcym i oddalało ode mnie, lgnąc gdzie indziej. Ale choć domyślałem się, jak ważne były w jej życiu pragnienia i jak wielkie przeszkody napotykały wszędzie wokół, dalej nie mogłem wyobrazić sobie, czym były one w jej mniemaniu i jaką wagę im nadawała. W chorobie nie musimy przynajmniej wybierać sobie rodzaju udręki. Sama choroba nam go narzuca. Ale w cierpieniach zazdrości próbujemy po trochu wszystkich odmian bólu we wszystkich możliwych natężeniach, zanim pozostaniemy przy czymś, na co w ostateczności możemy przystać. O ileż trudniej jest pogodzić się z cierpieniem takim jak moje, gdy ukochana szuka przeżyć, których my jej dać nie możemy, i woli doznawać rozkoszy z istotami różniącymi się od nas nawet budową ciała, wyrazem twarzy i sposobem bycia! Ach, czemu Albertyna nie zakochała się raczej w Robercie de Saint-Loup! O ileż mniej byłbym wtedy cierpiał!

Niewiele wiemy o indywidualnej wrażliwości, właściwej poszczególnym osobom, i zazwyczaj nie jesteśmy świadomi nawet tego, że wiemy o niej tak mało; wrażliwość innych nic nas bowiem nie obchodzi. Lecz co do Albertyny, moje widoki na szczęście i moje cierpienia wiązały się z rodzajem jej wrażliwości. Wiedziałem, że nie znam jej wcale, i już choćby z tego powodu musiałem cierpieć. Zdawało mi się czasem, że trop nieznanymi pragnieniami i rozkoszami, za jakimi goniła, podchwyciło gdzieś moje oko albo ucho. Na przykład wtedy, kiedy w jakiś czas po śmierci Albertyny przyszła mnie odwiedzić Anna. Po raz pierwszy wydała mi się piękna; patrzyłem na jej czarne loki, na ciemne, podkrążone oczy, mówiąc sobie, że bez wątpliwości Albertyna bardzo ją kochała. Zmaterializowało się przed moimi oczyma to, co widziała Albertyna w miłosnych rojeniach, to, za czym jej spragnione i niecierpliwe spojrzenie ulatywało owego dnia, kiedy tak nagle postanowiła wyjechać z Balbec. Ten nieznaną czarną kwiat, przysłany mi zza grobu przez istotę, w której rękach wtedy go nie zauważyłem, wydał mi się bezcenną relikwią, odnalezioną nieoczekiwanie, wydobytą spod warstw cmentarnej ziemi. Oto miałem przed sobą ucieleśnioną żądzę Albertyny, tym bowiem była dla mnie Anna, tak jak Wenus była wcieleniem żądz Jowisza. Anna mówiła mi o swoim żalu po Albertynie, ale od razu pojąłem, że nie tęskni. Swoją część tego, co nieodwracalne, zdawała się dźwigać bez wysiłku, godząc się na rozłąkę, którą narzuciła im śmierć, a której — gdyby Albertyna żyła — nie ośmieliłbym się żądać; obawiając się gniewu, z jakim Anna odrzuci moje życzenie. Czas pokazał, że potrafi obejść się bez niej — ja jednak nie miałem już z tego żadnego pożytku. Anna gotowa była zwrócić mi teraz Albertynę, ale martwą, pozbawioną nie tylko życia, ale i blasku, jaki ją niegdyś otaczał — skoro stwierdziłem, że dla Anny nie była niezastąpiona, że jej miejsce mogły zająć inne.

Za życia Albertyny nie odważyłbym się prosić Anny o wyznania na temat przyjaźni, jaka łączyła je obie z przyjaciółką panny Vinteuil, musiałem się bowiem liczyć z tym, że Anna powtórzy Albertynie każde moje słowo. Lecz jeśli nawet takie przesłuchanie niewiele mogło wyjaśnić, teraz przynajmniej nie groziło żadnym niebezpieczeństwem. Zacząłem tak, jakbym o nic nie pytał, tylko dawno już słyszał, może nawet od Albertyny, o jej, Anny, skłonności do kobiet i o jej bliskiej znajomości z panną Vinteuil. Nie zawahała się tego wszystkiego potwierdzić, z beztróskim uśmiechem. Lecz konsekwencje owego potwierdzenia były dla mnie okrutne. Po pierwsze dlatego, że właśnie jej, która w Balbec tak uwodzicielsko flirtowała z wieloma młodymi ludźmi, nikt by nie posądził o podobne obyczaje, ona tymczasem nie czuła nawet potrzeby, by się ich wyprzeć. Toteż

na widok tej nowej, nieznannej Anny mogłem się domyślać, że Albertyna z taką samą łatwością wyznałaby wszystko każdemu oprócz mnie; we mnie wyczuła bowiem skazę zazdrości. Jeśli zaś Anna była najbliższą przyjaciółką Albertyny, przez którą to zapewne Albertyna tak pośpiesznie wróciła wtedy z Balbec, i jeśli teraz Anna mówiła mi bez ogródek o swoich gustach, to narzucał się wniosek, że Anna i Albertyna musiały od dawna pozostawać w takim związku. Ale tak jak w obecności gościa nie zawsze się odważamy rozpakować prezent, nieraz wolimy go obejrzeć dopiero wtedy, kiedy ofiarodawca sobie pójdzie, tak też póki Anna była u mnie, nie zaglądałem do własnego wnętrza, nie dotykałem cierpienia, które przyniosła mi w darze, choć doszło już do mnie, że moja gwardia — serce i nerwy — bije na alarm, wołając o rewolucji. Tymczasem demonstrowałem dobre manieri: udawałem, że nic się nie stało, i z młodą dziewczyną, która była moim gościem, prowadziłem lekką i błyskotliwą rozmowę, odwróciwszy wzrok od pożaru szalejącego w moim wnętrzu. Szczególnie boleśnie dopieкло mi pewne jej stwierdzenie na temat Albertyny:

— Ach, tak, bardzo lubiła spacerować w dolinie Chevreuse.

W tym nieokreślonym i nierzeczywistym świecie, po którym Albertyna spacerowała z Anną, pojawiła się jakaś dodatkowa, przeklęta dolina, diabelskim aktem stworzenia dołączona do Boskiego dzieła. Czułem, że Anna gotowa jest wyznać mi wszystko, czego dopuściła się z Albertyną, więc przez grzeczność, z wyrachowania, dla miłości własnej, albo też z wdzięczności, usiłowałem być dla niej jak najmiłszy, podczas gdy terytoria zajęte przez moją wiarę w niewinność Albertyny topniały z chwili na chwilę. Obawiałem się, że mimo moich wysiłków, ujrzy mnie zmartwiałego jak zwierzę, sparaliżowane widokiem krążącego nad nim drapieżnego ptaka, którego lot kreśli zaciskające się pętle, bez pośpiechu, bo ofiara i tak już się nie wymknie. A jednak patrząc Annie w oczy, i to z resztką uśmiechu, swobody i pewności siebie, jaka zostaje temu, kto musi udawać, że nie osłupiał ze zgrozy, rzuciłem niezobowiązująco:

— Nigdy o tym nie mówiliśmy, bo bałem się, że się pogniewasz, ale teraz, kiedy wspominamy ją tak mile, mogę ci już powiedzieć, że od dawna wiedziałem, co was łączy. Zresztą pewnie ci to sprawi przyjemność, chociaż i tak dobrze o tym wiesz: Albertyna podkochiwała się w tobie.

Powiedziałem jej, że bardzo bym chciał, by pozwoliła mi popatrzeć, jak to robi z przyjaciółkami Albertyny, mającymi te same gusta (nie musiałyby posuwać się do pieszczot, które krępowałyby ją w mojej obecności); wymieniłem na próbę Rozamundę i Bertę, potem całą resztę.

— Za nic w świecie nie robiłabym tego w twojej obecności — odpowiedziała mi Anna — a poza tym nic mi o tym nie wiadomo, żeby którakolwiek z nich miała takie gusta.

Bezwolnie uczyniłem następny krok w stronę drapieżnika o paraliżującym spojrzeniu.

— Jak to? Chyba nie powiesz mi, że z całej waszej „bandy” robiłaś to tylko z Albertyną!

— Ależ ja nigdy tego z Albertyną nie robiłam!

— Dajże pokój, Anno złota, po co wypierasz się rzeczy, o których wiem już przynajmniej od trzech lat! Nie widzę w tym nic złego, wprost przeciwnie. Na przykład tamtego wieczoru, kiedy ona nalegała, żebyście nazajutrz poszły razem do pani Verdurin, pewnie przypominasz sobie, o czym mówię...

Nim dokończyłem zdanie, dostrzegłem błysk w oczach Anny, ostry niczym owe kamienie, które jubilerzy niechętnie biorą do oprawy właśnie z powodu tej ostrości; przelotne spojrzenie, rzucone z niepokojem jakby zza uchylonej kurtyny, na chwilę przed rozpoczęciem przedstawienia, przez aktora, który wycofa się, nim go widownia zauważy. I ten błysk także zniknął, wszystko wróciło do zwykłego stanu, ale wiedziałem już, że cokolwiek teraz się wydarzy, będzie zainscenizowane specjalnie na mój użytek. I w tej właśnie chwili spojrzałem na swoje odbicie w lustrze; uderzyło mnie, jak podobny jestem do Anny. Gdybym już dawno nie przestał golić wąsów, gdyby zamiast nich tylko sinawy ślad zarostu ocieniał moją górną wargę, podobieństwo byłoby zupełne. Być może wtedy, w Balbec, właśnie szczecina świeżego zarostu nad moją górną wargą wywołała w Albertynie to szalone i nie cierpiące zwłoki pragnienie powrotu do Paryża.

— Ależ nie myślę ci opowiadać takich rzeczy tylko dlatego, że ty ich nie potępiasz. Przysięgam ci, że z Albertyną nic nie było i jestem głęboko przekonana, że ona się tym

brzydzą. Ludzie, którzy ci tego wszystkiego naopowiadali, okłamali cię, być może mieli w tym jakiś interes — dorzuciła, przyglądając mi się podejrzliwie i jakby pytająco.

— Niech już tak będzie, skoro nie chcesz mi powiedzieć — odparłem, by wyglądało, że mam niezbite dowody (których brakowało), lecz postanowiłem ich nie ujawniać. Na chybił trafił wymieniłem jednak nazwę Buttes-Chaumont.

— Może i byłam z Albertyną w Buttes-Chaumont, ale co w tym złego, czy to jakieś szczególne miejsce?

Powiedziałem, że mogłaby pogadać o tym z Gizelą, która w pewnym okresie była z Albertyną bardzo blisko. Ale Anna oświadczyła, że Gizela zrobiła jej ostatnio straszliwe świństwo, więc teraz już o nic jej nie poprosi, to jedyna rzecz, której nawet dla mnie nie może uczynić.

— Ale jeśli ją spotkasz — dodała po chwili — to nie wspominaj jej o tym, nie chcę, żeby mnie znienawidziła. Ona zresztą wie, co o niej myślę, ale zawsze lepiej unikać otwartych waśni, bo potem i tak trzeba się będzie pogodzić. A poza tym ona jest niebezpieczna. Rozumiesz, kiedy się czytało taki list jak ten, który miałam w rękach zaledwie przed tygodniem, pełen najperfidniejszych kłamstw, to już żaden uczynek tego nie zmyje, nawet najpiękniejszy.

A zatem: jeśli Anna, która miała te skłonności w takim stopniu, że nawet się z nimi nie ukrywała, Albertyna zaś była do niej bardzo przywiązana, o czym wiedziałem, i mimo to Anna nigdy nie miała z nią stosunków cielesnych, i nawet nic nie wiedziała o tym, by Albertyna podzielała jej skłonności, to znaczyło po prostu, że Albertyna ich nie podzielała i że z nikim nie miała takich stosunków, skoro nie miała ich z Anną. Kiedy tylko Anna sobie poszła, zauważyłem, że jej stanowcze zaprzeczenie mnie uspokoiło. Ale, być może, zachowała się tak dlatego jedynie, że poczuwała się do obowiązku wobec niezyskującej przyjaciółki podważać moje domysły, którym Albertyna za życia z pewnością także kazałaby zaprzeczać.

Owe nieznane rozkosze Albertyny tropiłem już od dawna. Już przez chwilę wydawało mi się, że coś mi zamajaczyło na twarzy Anny, gdy się w nią wpatrywałem. Na ślad natrafiłem jeszcze raz, i to bez udziału wzroku: usłyszałem ich echo. Było to wtedy, gdy sprowadziłem sobie do domu schadzek dwie młode praczki z dzielnicy, w której Albertyna dość często bywała. Wśród pieśzot jedna z nich wyrzuciła z siebie zadziwiający, nieartykułowany odgłos, którego wymowa w pierwszej chwili była dla mnie nieczytelna, zwykle bowiem najtrudniej jest pojąć znaczenie dźwięku, który wyraża cudze, niedostępne nam w tej chwili fizyczne doznania. Nie wiedząc, co się dzieje w sąsiednim pomieszczeniu, za wybuch szaleńczego śmiechu łatwo weźmiemy krzyk bólu, wyrrywający się choremu, operowanemu bez narkozy; odgłos, jaki wyda matka na wieść o śmierci dziecka, będzie dla nas czymś tak samo nieprzekładalnym na ludzki język, jak mowa harfy albo ryk zwierzęcia, póki nie dowiemy się, jakie nieszczęście ją spotkało. Potrzeba chwili zastanowienia, by pojąć, że obydwie dźwięki wyrażają coś, co dobrze znamy i co przez analogię do własnych doznań, które i tak zawsze wydają się nam niepowtarzalne, nazywamy cierpieniem. Potrzebowałem więc tej chwili, by zrozumieć, co oznaczał dźwięk wydany przez tę dziewczynę: przez analogię z doświadczeniem własnych doznań, choć wydawały mi się nieporównywalne z cudzymi, określiłem go jako wyraz rozkoszy; musiała to być rozkosz nieopisana, dzika, skoro wstrząsnęła do głębi ową osóbką i wyrwała jej z ust dźwięki nieznanego języka, opisującego, jak się zdawało, kolejną fazę zmysłowego uniesienia, w którym się spalała, lecz które na zawsze skryła przed moim wzrokiem zasłona, broniąca postronnym widoku tego, co dla istoty ludzkiej jest najintymniejsze. Te dziewczęta nie mogły mi jednak nic ponadto wyjaśnić na temat Albertyny, bo nawet jej nie znały.

Autorzy powieści lubią utrzymywać w swoich przedmowach, że w podróży spotkali kogoś, kto im opowiedział o życiu pewnej osoby. Po czym oddają głos owemu przygodnemu znajomemu, rozpoczyna się opowieść, która będzie treścią książki. Tak na przykład życie Fabrycego del Dongo miał opowiedzieć Stendhalowi kanonik z Padwy. Jakże gorąco pragnęlibyśmy — gdy jesteśmy zakochani, a życie drugiej osoby okrywa tajemnica — znaleźć narratora mającego tak dogłębną wiedzę! Jest bowiem pewne, że taki istnieje. Czyż my sami nigdy nie opowiadaliśmy beznamiętnym tonem przyjacielowi albo i niezajomemu o miłostkach tej lub owej kobiety, o których nic nie wiedział, więc słuchał nas

z zapartym tchem? Skoro właśnie ja byłem owym człowiekiem, który opowiadał Blochowi o pani de Guermantes i o Odecie Swann, żył gdzieś i ten, kto mógłby mi opowiedzieć o Albertynie, albowiem w każdym przypadku jest na świecie taka osoba... ale nie będzie nam dane jej spotkać. Wydawało mi się, że gdybym mógł odnaleźć kobiety, które ją znały, dowiedziałbym się wszystkiego, co wiedzieć chciałem. A przecież człowiek obcy mógłby pomyśleć, że nikt nie wie więcej ode mnie o jej życiu. Czyż nie znałem Anny, jej najlepszej przyjaciółki? Ludzie chcą wierzyć, że osobisty przyjaciel ministra wie wszystko o sprawach państwa albo że znajomość taka ochroni go przed uwikłaniem w proces sądowy. Ale ów przyjaciel pamięta, że ilekroć chciał porozmawiać z ministrem o polityce, ten częstował go ogólnikami i nie mówił nic ponad to, co można było przeczytać w gazetach, a nagabywania o protekcję w jakiejś sprawie zbywał niezmiennym stwierdzeniem: „To nie jest w mojej mocy”, aż znajomy zrozumiał, że nie jest w jego mocy wpłynąć na ministra. Mówiłem sobie: „Gdybym tak dotarł do innych świadków!”, a przecież, jeśli bym nawet do nich dotarł, nie wy dobyłbym od nich nic więcej niż od Anny, która znała tajemnicę, lecz nie chciała mi jej zdradzić. Inaczej niż Swann, który uwolniwszy się od zazdrości, przestał się interesować tym, co robiła Odeta w towarzystwie Forcheville’a — nawet kiedy moja zazdrość przeminęła, wciąż jeszcze ciekaw byłem praczki znad Loary i pragnąłem poznawać mieszkańców dzielnicy Albertyny, wciąż jeszcze rozpamiętywałem jej potajemne życie, jej kłamstwa i wykrety. A ponieważ wszelkie żądze mają u podłoża wcześniejsze olśnienia — tak samo było kiedyś z Gilbertą i księżną de Guermantes — w dzielnicach, w których Albertyna mieszkała, szukałem kobiet z jej sfery i tylko w ich towarzystwie znajdowałem zadowolenie. Nawet jeśli niczego nie potrafiłem się od nich dowiedzieć, pociągały mnie właśnie te, które znała lub poznać mogła, nawykłe obracać się w tych samych kręgach, w których ona się obracała; jednym słowem te, które zdobył nimb podobieństwa do Albertyny lub które byłyby jej się spodobały. A wśród tych ostatnich przede wszystkim dziewczyny z ludu, ze względu na odmienną naturę życia, jakie wiodły, od tego, które było mi znane. Bez wątplenia to umysł czyni swoją własnością miejsca i rzeczy, zatem dzieło sztuki nie może naprawdę należeć do kogoś, kto — nie rozumiejąc go — powiesił je sobie w stołowym. Nikt nie zadomowi się też w pejzażu, w którym zamieszkał, jeśli nań nie patrzy. A przecież uległem złudzeniu, że biorę w posiadanie Balbec, kiedy w Paryżu odwiedziła mnie Albertyna i trzymałem ją w ramionach. Ocierałem się, dość powierzchownie zresztą i przelotnie, o świat Albertyny, całując się z jakąś robotnicą; oddychałem atmosferą fabryk, ubogich czynszówek i rozmów przy kontuarze. Tak samo jak Anna, kobiety te interesowały mnie tylko przez wzgląd na Albertynę; niegdyś Albertyna pociągała mnie jako częśćka Balbec. Znałem rozkosze zastępcze, po które sięgałem zamiast innych; kolejne były coraz mniej warte. Łatwiej mi było obejść się bez tego, czego mieć nie mogłem — wyjazdu do Balbec, miłości Albertyny — dzięki innym przyjemnościom, różniącym się od tamtych zaledwie odcieniem (na przykład niegdyś oglądałem w Luwrze płótna Tycjana, których widok po trosze zastępował mi niemożliwą podróż do Wenecji). Moje życie zdawało się podzielone na strefy falą koncentrycznych kręgów, rozchodzącą się wokół pierwotnego pragnienia, które ją wywołało, i zanikającą w oddaleniu od epicentrum. Narzucała mojemu życiu swój własny porządek, nadawała ton wszystkim moim sprawom, tak jak wtedy, kiedy zajęty byłem Gilbertą albo panią de Guermantes. Dla mojego pragnienia bliskości Albertyny, skazanego już na niespełnienie, Anna i inne kobiety były tym samym, czym w pewien wieczór — gdy znałem Albertynę tylko z widzenia i nie miałem jeszcze nadziei zagarnąć ją dla siebie bez reszty — stała się świeżość nabrzmiałej słońcem winogronowej kiści. Kiedy tak rozmyślałem to o Albertynie, to znów o typie kobiet, do jakich zdradzała szczególnie pociąg, odnajdywałem w sobie cierpkie uczucie zazdrości, czy też tęsknoty, które później, gdy moja rozpacz ostygła, przemieniło się w ciekawość z nutą fascynacji.

Nieodłączną częścią mojego wspomnienia o tej miłości stały się pewne właściwe Albertynie, związane z jej środowiskiem i konstytucją fizyczną znaki szczególne, pomimo których ją kochałem, i to one zwracały teraz moje żądze tam, gdzie kiedyś najmniej mnie ciągnęło: ku ciemnowłosym pannom ze zwykłych mieszczańskich domów. Owa stopniowo odradzająca się we mnie siła nie była niczym innym niż dawniejszy nienasycony głód prawdziwego życia, w którym tak pragnąłem zanurzyć się na wiejskich drogach pod Balbec i na paryskiej ulicy; był on zbyt wielki, by się nasycić jedną Albertyną. Z tej

to przyczyny cierpiałem bez miary, gdy podejrzewając, że Albertyna ulega tym samym co ja pragnieniom, zmuszony byłem pozbawić ją wszelkich możliwości zaspokojenia ich przy kimś trzecim. Teraz zaś, kiedy myśl o jej żądach stała się łatwiejsza do zniesienia, choć nieodmiennie budziła się we mnie pod naporem moich własnych pragnień, widząc te dwa nienasycone apetyty tak podobnymi, że można by folgować im pospołu, mówiłem sobie nieraz: „Jej też by się ta dziewczyna spodobała”. I w tejsze chwili, pomyślawszy o niej i o jej śmierci, popadałem w smutek i nazbyt przygniatający, by móc dalej ścigać przedmiot mojego pożądania. I jak niegdyś strona Méséglise i strona Guermantes nadały kształt moim pojęciom o wsi, tak trwale, że wiejski pejzaż nie miał już dla mnie żadnego uroku, jeśli zabrakło w nim starego kościoła, chabrów i jaskrów — tak teraz miłość do Albertyny, przez pamięć rajskiej przeszłości, kazała mi oglądać się za jednym tylko, szczególnym typem urody. Znow, tak jak kiedyś, zanim ją pokochałem, złąkniony byłem brzmień właściwych jej tonacji; teraz miały mi one zastąpić gasnące wspomnienie. Nie znajdowałem już upodobania w dumnych jasnowłosych księżniczkach, nie poruszały bowiem we mnie żadnych emocji związanych z Albertyną, z moją tęsknotą, z zazdrością, jaką budziły we mnie jej miłostki, ani z bólem, jaki mi przyniosła jej śmierć. Tylko wówczas bowiem odczuwamy całą pełnię własnych doznań, gdy za ich sprawą odzywa się w nas coś jeszcze, jakieś uczucie, które nie może zadowolić się rozkoszą i które należy zapisać po stronie tęsknot, ponieważ dramatycznie potęguje ono pragnienia i zmusza nas do szalonej pogoni za szczęściem. Gdy miłość Albertyny do tej czy innej przestawała przyprowadzać mnie o udrękę, kobiety owe wchłaniała moja przeszłość, by dzięki nim wydawać się bardziej rzeczywistą; podobnie jaskry i krzaki tarniny z mojego wspomnienia o Combray wydawały się prawdziwsze od żywych kwiatów. Nawet o Annie nie myślałem już z gniewem: „Albertyna ją kochała”, ale przeciwnie, by wytłumaczyć sobie swoją własną skłonność do niej, powtarzałem łagodnie: „Przecież kochała ją Albertyna”. Lepiej rozumiałem teraz tych wdowców, o których inni myślą, że już minęła ich żaloba, gdy oni wciąż są niepokieszeni i dają tego niezbity dowód, żeniąc się ze szwagierkami.

Tak oto gasnąca namiętność zdawała się popychać mnie w ramiona nowej miłości. Kobieta uwielbiana przez lata, gdy czuje, że traci już władzę nad uczuciami kochanka, próbuje jeszcze rządzić jego życiem, i nie jest to niemożliwe, pod warunkiem, że zadowolony ją rola stręczycielki. Jak pani de Pompadour Ludwikowi XV, Albertyna wskazywała mi teraz coraz to inne dziewczęta. Dawniej kamienie milowe mojego życia to były kobiety, których pożądałem. Kiedy zmniejszała się gwałtowność rozkoszy, jakich doznawałem z jedną, u drugiej szukałem czułości w stanie czystym, póki nie odezwała się we mnie potrzeba wyrafinowanych pieśzcot, pod której wpływem zaczynałem znow tęsknić za tą pierwszą. Teraz jednak zabrakło w moim życiu odmiany, trwającej epoce nie było końca. Marzyłem o nowej przyjaciółce, która zamieszkałaby ze mną i przed snem żegnała mnie siostrzanym pocałunkiem. Toteż mógłbym prawie uwierzyć, że bardziej tęskniłem do pocałunku niż do znajomych ust, bardziej pragnąłem rozkoszy niż miłości, a przyzwyczajenia okazały się ważniejsze niż osoba — gdybym nie przekonał się, jak nieznośna jest mi obecność innej kobiety. Chciałbym, żeby nowo przybyła mogła grać mi Vinteuila i rozmawiać o Elstirze. Ale to wszystko na nic. Ta miłość i tak nie mogłaby się równać z tamtą, o czym wiedziałem. Może dlatego, że tamta była utkana z niezliczonych drobnych zdarzeń, z wizyt w muzeach, z wieczorów na koncertach, z całej różnorodności życia, która buduje porozumienie i dostarcza tematów do rozmów, i że poprzedzał ją flirt, a potem opromieniła ją prawdziwa przyjaźń — taka miłość jest czymś nieskończenie głębszym niż miłość kobiety, którą możemy jedynie posiąść; ma bowiem w sobie bogactwo brzmień orkiestry, gdy tamtą możemy porównać do fortepianu solo. Albo też dlatego, że potrzebowałem czułości właśnie takiej, jaką znalazłem u Albertyny, czułości młodej kobiety, która odebrała dość staranne wychowanie, która była przy tym zdolna do uczuć siostrzanych. I potrzeba owa — tak samo jak pragnienie obcowania z dziewczętami z tejsze sfery — była po prostu kolejnym przejawem mojej wciąż żywej pamięci o Albertynie, świadectwem mojej niewygasłej miłości. I jeszcze raz przekonywałem się, że pamięć niczego nie stwarza, że nie możemy zapragnąć niczego innego i niczego ponad to, co już kiedyś zdarzyło nam się posiadać; że, poza tym, natura pamięci jest duchowa, dlatego też upragnionego przez nas stanu rzeczywistość nie może nam stworzyć, i że wreszcie, jeśli pamięć zwraca się ku zmarłej, to nie dlatego, że chcielibyśmy nadal ją kochać, ile raczej

z tej przyczyny, że czegoś jeszcze oczekujemy od nieobecnej. Toteż jeśli nawet znalazłem kobietę podobną do Albertyny i jeśli zdołałem wydobyć z niej nutę czułości przypominającej tamtą czułość, to i tak w najlepszym razie mogłem tylko odczuć tym silniej brak tego, za czym uganiałem się, sam nie wiedząc, czego mi trzeba; wiedziałem jedynie, że bez tego czegoś nie odzyskam szczęścia. Tym, za czym na próżno goniłem, była prawdziwa, żywa Albertyna i czas wspólnie przeżyty, przeszłość, do której wciąż jeszcze szukałem drogi powrotnej, nie będąc tego nawet świadomym.

W pogodne dni Paryż wydawał mi się rabatą rozkwitającą niezliczonym tłumem młodych dziewcząt. Nawet jeśli nie budziły we mnie żądz, to zapuszczały korzenie w mrocznych głębiach, w ciemnościach nieznanego mi nocnego życia Albertyny. Jedną z nich mogła być ta, o której na początku naszej znajomości, kiedy Albertyna nie pilnowała się jeszcze tak bardzo, powiedziała: „Patrz na tę małą, zachwycająca, cóż za wspaniałe włosy”. Cała ciekawość jej świata, rozogniona we mnie już wtedy, kiedy znałem Albertynę tylko z widzenia, splotła się z moją własną żądzą doznań w jedno pragnienie, by móc widzieć Albertynę z kobietą, pojąć, jakiej to doznawała z nią rozkoszy. Miałem zapewne nadzieję, że po odejściu tamtych kobiet zostanę z nią wreszcie sam, jedyny kochanek, pan i władca. A kiedy dostrzegłbym w niej wahanie, czy spędzić wieczór z tą czy z tamtą, jej przesył po spotkaniu z inną jeszcze, a może zgoła rozczarowanie, zdołałbym pewnie rozwikłać i sprowadzić do właściwych rozmiarów tajemnicę Albertyny, przyczynę mojej zazdrości; patrząc bowiem, jak nią targają te sprzeczne uczucia, mógłbym poznać miarę jej rozkoszy, zbadać krańce.

Iluż uciech, myślałem, iluz uśmiechów losu pozbawił nas ten zawzięty upór, z jakim zaprzeczała swoim skłonnościom! I kiedy po raz kolejny zastanawiałem się, skąd mógł się brać, nagle przypomniałem sobie słowa, które wypowiedziałem do niej w Balbec tamtego dnia, kiedy dała mi ołówek. Czyniąc jej wymówki za to, że odmówiła mi pocałunku, wyznałem, że uważam go za coś równie naturalnego, jak nikczemne są w moich oczach stosunki kobiet z kobietami. Zapamiętała to sobie, niestety.

Sprowadzałem do domu dziewczęta, które kiedyś byłyby nie w moim guście, głaskałem niewinnie rozpuszczone loki, podziwiałem kształtny nosek, hiszpańską błądź cery. Jeśli dawniej zdarzyło mi się spojrzeć na kobietę spotkaną przelotnie na wiejskiej drodze pod Balbec albo na paryskiej ulicy, nie zapomniałem, że moje żądze kierują się ku określonym osobom i że nadzieja zaspokojenia ich z kim innym prowadzi na manowce. Życie jednak uczyło mnie dzień po dniu, że naszym losem jest wieczne niespełnienie, i przyzwyczaило mnie w braku tej, której pragnąłem, szukać ukojenia u innej; przeczuwałem, że czegokolwiek chciałbym od Albertyny, mogłem to równie dobrze dostać gdzie indziej, na przykład u panny de Stermaria. Przypadek podsunął mi Albertynę. I moje pragnienie bliskości weszło w tak ścisły związek ze znakami szczególnymi jej ciała, że nie umiałbym już wskazać osobnego wątku moich potrzeb i uczuć w owym kobiercu wspomnień o jej cielesności. Ona jedna mogła dać mi to szczęście. Jeśli przechowywałem jej wyobrażenie jako istoty niezastąpionej, nie była to metafizyczna idea powzięta a priori, wysnuta z jakichś specjalnych cech Albertyny, podobna do tych, które tworzyłem sobie dawniej, mijając na drogach nieznanym, lecz raczej wniosek z obserwacji pewnych nierozzerwalnych, choć przypadkowych zrostów różnych moich wspomnień. Nie mogłem już nawet pomyśleć o miłości, by od razu nie poczuć na nowo tęsknoty za Albertyną i rozpachy, że jej tu nie ma. Podobieństwo kobiet, które mi się trafiały, albo czułości, jakich od nich oczekiwałem, do tamtego minionego szczęścia przypominało mi o tym, że czegoś ważnego im brakuje i że bez tego czegoś szczęście nie może powrócić. Ta sama pustka, którą zionął mój pokój po wyjeździe Albertyny i którą usiłowałem zapełnić, biorąc w ramiona coraz to nowe kobiety, wzywała i z nich. One nigdy nie mówiły ze mną o muzyce Vinteuila, o *Pamiętnikach* Saint-Simona, nie zjawiały się u mnie uperfumowane do przesady, nie bawiły się muskaniem rękami moich ręk, obce im były wszystkie najważniejsze rzeczy, właśnie te, z których utkana jest owa romantyczna otoczka aktu cielesnego, iluzja miłości; każda z tych kobiet w istocie była dla mnie tylko jakimś innym fragmentem wspomnienia o Albertynie, jej to bowiem naprawdę szukałem. To, co w nich było z Albertyny, mogło jedynie podkreślić jeszcze wyraźniej pewien brak, nieobecność czegoś, co było dla mnie wszystkim, a czego nie dane mi było odzyskać już nigdy, bo Albertyna umarła. Tak oto miłość do Albertyny, stręcząc mi inne kobiety, jednocześnie czyniła mi

je obojętnymi, a mój żal po jej stracie, tak jak zastarzała zazdrość, trwalsza, niż mogłem sądzić w najczarniejszych przewidywaniach, nigdy by mnie zapewne nie opuścił, gdyby pozostał jedynie przedmiotem gry wspomnień, odcięty od innych wątków mojego życia i poddany psychologicznym prawom bodźca i reakcji, odnoszącym się do stanów niezmiennych; gdyby nie stał się częścią większej całości, w której duch może poruszać się w czasie tak samo, jak ciała w przestrzeni.

Tak jak przestrzenią rządzi geometria, psychologia działa w czasie; żadne rachuby wywiedzione z psychologii dwuwymiarowej, płaskiej, nie mogły być prawdziwe, nie uwzględniały bowiem Czasu ani też zapomnienia, będącego jedną z jego form. Zapomnienia, którego potęgę zaczynałem dopiero przeczuwać i które okazuje się tak skutecznym narzędziem naszego przystosowania do rzeczywistości, ponieważ stopniowo unicestwia w nas ocalałe resztki minionego czasu — te dwa żywioły toczą bowiem wieczną walkę. Mogłem bez trudu domyślić się, że przyjdzie dzień, kiedy nie będę już kochał Albertyny. Już wtedy, kiedy zacząłem zauważać, jak różne jest znaczenie jej osoby lub uczynków w moich i cudzych oczach, zrozumiałem, że miłość, którą nosiłem w sobie, określa nie ją, lecz mnie samego. Mogłem wyciągnąć stąd różne wnioski co do subiektywnej natury mojej miłości, która, będąc tylko stanem ducha, przetrwała dłużej niż ukochana osoba, ale zarazem, nie mając już z tą osobą rzeczywistego kontaktu, żadnego punktu zaczepienia na zewnątrz, musiała, jak to bywa ze stanami wewnętrznymi, nawet tymi, które utrzymują się najdłużej, wyczerpać się, zużyć i ustąpić; wtedy zaś wszystko to, co zdawało się tak nierozzerwalnie wiązać mnie z błogim wspomnieniem Albertyny, mogło już tylko zniknąć bez śladu. Na swoje nieszczęście drugi człowiek jest dla nas niby sztych z kolekcji, którą chętnie posługuje się umysł. Umysł nuży się bowiem wspomnieniami i pozwala im obrócić się w nicłość. Wiedziałem, że przyjdzie dzień, kiedy będę gotów z ochotą oddać pierwszej z brzegu pokój Albertyny, tak jak Albertynie oddałem bez żalu agatową kulę i wszystkie inne podarunki Gilberty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Nie znaczy to, że już przestałem kochać Albertynę. Ale była to miłość inna niż w ostatnich tygodniach jej życia; podobna raczej do tej z okresu pierwszego zauroczenia, kiedy w mojej zachłannej ciekawości miejsc i ludzi związanych z jej życiem więcej było podziwu niż bólu. Toteż przeczuwałem, że zanim o niej do reszty zapomnę, zanim osiągnę znów stan pierwotnej obojętności uczuć, będę musiał, niczym wędrowiec powracający do miejsca, z którego wyruszył, przebyć w odwrotnym porządku kolejne stadia rozwoju mojej miłości. Lecz tych minionych stanów ducha, tych mgnień przeszłości nie pochłoniął zastój, przetrwała w nich niespożyta siła, radosna niewiedza nadziei, wyrrywającej się w czas przyszły. W czas przyszły, który oto dawno już stał się przeszłym, lecz nadal potrafi nas omamić, sprawiając, że jeszcze raz, choćby przez krótką chwilę, będziemy czekali nań z niecierpliwością. Odczytany na nowo liścik, w którym kiedyś zapowiadała na wieczór swoją wizytę, na moment przywrócił mi radość oczekiwania. Gdy opuszczamy na zawsze okolicę, w której zabawiliśmy trochę, w drodze powrotnej przebywamy po raz drugi trasę znaną już z podróży w tamtą stronę, rozpoznajemy szczegóły pejzażu, nazwy mijanych stacji; zdarza się wtedy podczas postoju ulec złudzeniu, że gdy pociąg ruszy, pojedzie w przeciwnym kierunku; przez sekundę nie pamiętaliśmy, że to już powrót. Czar łatwo pryska, ale przez ową sekundę zdawał się przecież naprawdę w mocy unieść nas wstecz: tak przemożna jest potęga pamięci.

Jeśli jednak podróż powrotna ku epoce nie znającej naszej miłości nie przebiega, w odwróconym porządku, po znanej trasie, poczynawszy od końcowego przystanku, leżącego w kulminacyjnym punkcie namiętności, to równie dobrze możemy wracać inną drogą; wszystkie mają pod dostatkiem rozjazdów. Zapomnienie bowiem, tak samo jak miłość, rozwija się niemiarowo, często zmieniając tory. Ten, którym powracałem, miał tuż przed stacją końcową cztery przystanki zapamiętane przeze mnie ze szczególną dokładnością, dlatego zapewne, że dostrzegłem tam parę szczegółów nie związanych z moją miłością do Albertyny lub przynajmniej związanych z nią o tyle tylko, i o ile inne uczucia, obecne w nas jeszcze przed okresem najsilniejszego wybuchu namiętności, mogą się

w nią wtopić, zasilając ją albo tłumiąc, mogą też pozostać dla niej tłem, przez kontrast ukazującym wnikliwemu spojrzeniu jej naturę.

Pierwszy z etapów tej podróży rozpoczął się z nadejściem zimy, gdy w piękną niedzielę Wszystkich Świętych wybrałem się na przejażdżkę. Zbliżając się do Lasku wspomniałem ze smutkiem Albertynę powracającą do mnie z Trocadéro, dzień był bowiem taki sam jak tamten, tylko Albertyny zabrakło. Wspomniałem ją ze smutkiem, lecz przecież nie bez przyjemności, jakiej może dostarczyć powtórzenie w melancholijnej minorowej tonacji wcześniejszego motywu, który całkowicie wypełnił mi inny dzień. Tym razem zabrakło telefonu Franciszki, zapowiadającego przybycie Albertyny, lecz nawet to nie zniweczyło mojej przyjemności, przypomniało jedynie o upływie czasu i osnuło cały ten dzień otoczką smutku, przydając mu szczególnego piękna, obcego dniom uporządkowanym, nie rozdartym; to bowiem, czego w nim brakowało, co mu zostało odjęte, pozostawiło widoczną wyrwę. Nucilem frazę z sonaty Vinteuila. Myśl, że tak często grywała ją Albertyna, nie była już bolesna, wszystkie bowiem wspomnienia, jakie mi po niej zostały, niby w wyniku zakończonej już reakcji chemicznej przeszły w stan, w którym — zamiast niepokojącego ucisku w sercu — niosły mi ukojenie. Chwilami, w miejscach granych przez nią najchętniej, opatrywanych jej własnymi uwagami, które wówczas mnie ujmowały, a teraz ożywały we wspomnieniu, powtarzałem sobie: „Biedna mała”, ale nie było w tym smutku, raczej świadomość dodatkowej ceny, jakiej nabrały muzyczne pasaże, ich wartości historycznej i pamiątkowej, takiej, jaką zyskuje na przykład portret Karola I pędzla Van Dycka, piękny już sam w sobie, gdy dowiadujemy się, że znalazł się w zbiorach narodowych z woli pani du Barry, która chciała oślnić króla. Kiedy mała fraza rozsypywała się tuż przed ostatecznym zniknięciem, gubiąc melodię i rytm, i falowała pośród rozproszonych dźwięków jeszcze przez chwilę, nie słyszałem w niej, w przeciwieństwie do Swanna, przesłania od tej, która mnie opuściła — od Albertyny. Mała fraza budziła we mnie inne skojarzenia, skłaniała do innych myśli. Poruszał mnie raczej sam jej rozwój, przetwarzanie motywów, ich nawroty, całe to „stawanie się”, rozciągnięte w owej sonacie tak jak miłość w moim życiu. Teraz zaś dzień po dniu patrzyłem, jak moja miłość gubi melodię i rytm — wyzbywając się najpierw zazdrości, a potem i innych swych przejawów. Powracały nieśmiało w mglistym wspomnieniu, przywabione ledwie słyszalnym brzmieniem pierwszych taktów; miałem wrażenie, że moja miłość rozpada się wraz z małą frazą, wietrzejąc i niknąc w oczach.

Kiedy podążałem aleją, wzdłuż której ciągnął się szpaler krzewów, okryty szatą z każdym dniem coraz cieńszą, narzucało mi się wspomnienie powrotu z pewnej przejażdżki powozem w towarzystwie Albertyny; poczułem, jak głęboko przenikała całe moje życie; wciąż jeszcze unosiła się wokół mnie w delikatnej mgle otaczającej czarne kontury gałęzi, gdy zachodzące słońce prześwietlało rozsiane z rzadka pośród nich złociste liście, które wydawały się zawieszane w pustce. Nie dość mi było oglądać te obrazy oczyma duszy, wciągały mnie i pochłaniały jak owe stronicze wypełnione opisami przyrody, w które autor, chcąc uczynić dzieło doskonalszym, wplata jakąś dodatkową, fikcyjną historię. Całą przyrodę przenikał czar łagodnej melancholii, tak bliskiej mojemu sercu. Coraz to ogarniało mnie drżenie, dobrze znane ludziom, którym obsesja każe w kobietach mijanych na rogu ulicy dostrzegać uderzające podobieństwo do tej jedynej osoby ciągle zaprzętającej umysł: „Czyżby to była ona?” Oglądamy się za jakąś postacią, ale powóz jedzie dalej przed siebie, nigdy bowiem nie zawracamy, by za nią podążyć.<sup>1437</sup> Ulegałem czarowi, który zdawał się płynąć stąd, że wciąż tak samo kochałem Albertynę; lecz w istocie było wprost przeciwnie, niepamięć czyniła postępy i wspomnienie Albertyny nie było już bardzo bolesne, co oznacza, że i ono przeszło jakąś przemianę. Lecz choćbyśmy byli tak pewni swojego rozeznania we własnych uczuciach, jak ja, gdy nie wątpiłem, że rozumiem przyczynę mej melancholii, niedostępne jest nam ich głębsze znaczenie. Są choroby, w których lekarz po wysłuchaniu skarg pacjenta musi dopiero dotrzeć do podłoża, którego sam pacjent nie jest świadomy — podobnie bywa z naszymi uczuciami, z naszymi myślami, które nie znaczą więcej niż zespół zewnętrznych objawów. Gdy moja zazdrość ustąpiła pola dziwnemu stanowi urzeczenia i łagodnego smutku, znów obudziły

<sup>1437</sup> *Coraz to ogarniało mnie drżenie (...) by za nią podążyć* — fragment dopisany przez Prousta na marginesie, zamieszczony w przypisie w wydaniu Gallimarda, pominięty w wydaniach polskich. [przypis tłumacza]



się we mnie do życia wszystkie zmysły. I tak samo jak wtedy, kiedy przestałem spotykać się z Gilbertą, przepelniała mnie miłość w stanie czystym, nie przypisana żadnej z kobiet, które kochałem, lekka jak te substancje eteryczne, uwolnione wcześniej w procesach rozkładu, snujące się w wiosennym powietrzu w poszukiwaniu jakiejś nowej istoty, z którą mogłyby się połączyć. Nigdzie nie rośnie tyle kwiatków, może nawet i niezapominajek — co na cmentarzu. Spoglądałem na młode dziewczęta, którymi rozkwitał bujnie ten piękny dzień, tak jak niegdyś patrzyłem na nie z powozu pani de Villeparisis, a potem, w niedzielę taką jak dziś, podczas przejażdżki z Albertyną — z okien dorożki takiej jak ta, która mnie teraz właśnie unosiła; za każdym moim spojrzeniem posłanym tej lub innej biegło teraz ciekawskie i zuchwałe, skrywające nieodgadnioną myśl spojrzenie Albertyny, jakim — byłem pewien — obrzuciłaby ukradkiem te same dziewczęta. Strzelało, jasnobłękitne i bystre, z niewidocznej flanki, towarzysząc mojemu niczym lustrzane odbicie jego trajektorii; sprawiło, że widok ulicy, zawsze tak banalny, przejmował mnie tajemnym dreszczem. Moje własne spojrzenie, zdane na samotność, nie wystarczyłoby do rozbudzenia nowych żądz, nie ukazując nic, czego bym dotąd nie znał.

Zdarzało mi się pod wpływem lektury jakiejś smutnej opowieści uczynić krok wstecz, książki bowiem przybijają nas niekiedy jak chwilowe, przemijające nieszczęścia, rozsadzają rutynę naszego życia, stawiają nas twarzą w twarz z nieupiększoną, surową rzeczywistością, lecz najwyżej na kilka godzin, jak złe sny, albowiem siła nawyku i zapomnienia, a także dobry humor, który mamy do zawdzięczenia niezdarności naszego własnego umysłu w jego dociekaniu prawdy, zyskuje miazdzącą przewagę nad hipnotycznym oddziaływaniem pięknej powieści, której moc, jak to zwykle bywa ze zmyśleniami, wietrzeje bardzo szybko.

Czyż nie dlatego zresztą tak bardzo chciałem poznać Albertynę w Balbec, że miała wszelkie cechy tego gatunku młodych dziewcząt, na którego widok aż przystawałem z wrażenia na rogu ulicy albo na wiejskiej drodze? Gatunku, którego ucieleśnieniem była w moich oczach. I czy nie rozumiało się samo przez się, że gasnąca już gwiazda mojej miłości, która skupiła kiedyś w sobie wszystek blask tych istot, obróci się teraz w mgławicowy pył? Młode dziewczęta były dla mnie Albertynami, nosiłem w sobie jej wizerunek i zdawało mi się na każdym kroku, że ją rozpoznaję; kiedyś nawet zdarzyło mi się dostrzec na rogu jakiejś alei wsiadającą do auta dziewczynę o sylwetce tak ludzaco podobnej, że przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie ją samą zobaczyłem i czy przypadkiem nie oszukali mnie historyjką o jej śmierci. Znów miałem ją przed oczyma na jakimś rogu, może w Balbec, wskakującą do auta w ten sam sposób, jeszcze pełną niezachwianej wiary w życie. Gest, który towarzyszył tej młodej dziewczynie przy wsiadaniu do auta, objawił się nie tylko moim oczom i nie tylko w swoim zewnętrznym wymiarze, jako zjawisko, na które podczas przechadzki można natknąć się wszędzie. Zastygłe w pamięci, zdawało się niczym pomnik rzucać cień daleko w przeszłość dzięki znaczeniu, które sam mu nadałem, a które tak rozkosznie i tak boleśnie chwytało mnie za serce.

Ale ona już zniknęła. Trochę dalej ujrzałem grupkę trzech dziewcząt, może już kobiet; bijący od nich blask młodości, siły i swoistego szyku przypomniawszy mi wszystko to, co zachwycało mnie w Albertynie już pierwszego dnia, kiedy ją tylko dostrzegłem pośród przyjaciółek. Ruszyłem więc za nimi, i w chwili, kiedy złapały dorożkę, zacząłem gorączkowo, na wszystkie strony rozglądać się za drugą. Znalazłem, lecz było już za późno. Nie dogoniłem ich. Po kilku dniach, wracając do domu, natknąłem się w naszej bramie na tę samą trójkę; tym razem szedłem za nimi aż do Lasku. Wszystkie, a zwłaszcza dwie z nich, brunetki, były podobne — choć nieco starsze — do tych wytwornych panienek, którym przyglądałem się z okna i które mijałem na ulicy, unoszony na sam ich widok porywami szalonej radości życia; w związku z nimi kłębiły mi się w głowie setki pomysłów, ale nie wiedziałem, jak zawrzeć znajomość. Ta trzecia, blondynka, wydawała się wątlesza, niemal anemiczna, i podobała mi się z nich najmniej. Ale to z jej powodu, zamiast poprzestać na przelotnym spojrzeniu, stanąłem jak wryty i wlepiłem w nie wzrok natarczywy, badawczy, jakbym dla rozwiązania zagadki musiał przeniknąć także to, co niewidoczne. Bez wątpienia pozwoliłbym im rozpląnąć się w tłumie, jak przedtem wielu innym, ale blondynka, przechodząc obok (może dlatego, że przypatrywałem się jej z taką uwagą?), rzuciła mi na początek ukradkowe spojrzenie, a potem, obejrzawszy się, jeszcze jedno, od którego zapłonąłem żywym ogniem. Po chwili jednak straciła zainteresowanie

moją osobą i podjęła przerwana rozmowę z tamtymi dwiema, toteż płomień, który mnie ogarnął, zgasłby samoistnie, gdyby nie podsycały go późniejsze wypadki.

Postanowiłem wy badać odźwiernego, kim były te dziewczęta.

— Pytały o księżną panią — odpowiedział. — Chyba tylko jedna ją zna, a tamte przyszły dla towarzystwa i czekały przy wejściu. Tu zapisałem jej nazwisko, nie dam głowy, że bez błędu.

„Panna Déporcheville”, przeczytałem i bez trudu przywróciłem temu nazwisku pierwotny kształt, „d'Éporcheville”. O ile sobie przypominałem, było to nazwisko młodej panny ze świetnej rodziny, skoligaconej, lecz niezbyt blisko, z Guermantami; to o niej Robert mówił mi, że ją spotykał w jakichś domach schadzek i miał ją nawet kilka razy. Wówczas odczytałem sens jej spojrzenia i sposób, w jaki mi je posłała, niepostrzeżenie dla przyjaciółek. Ileż to razy w przeszłości rozmyślałem o niej, próbując ją sobie wyobrazić, lecz nie dysponowałem żadną wskazówką prócz nazwiska, zasłyszanego od Roberta. I oto ujrzałem ją na własne oczy; niczym się nie różniła od tamtych dwóch, może tylko tym nieodgadnionym spojrzeniem, uchylającym tajemnych wrót ku ciemnym zakamarkom jej życia, gdzie nie sięgał wzrok przyjaciółek; z tym spojrzeniem wydała mi się bardziej przystępna — już na polu moja — i dużo miłsza, niż bywają zazwyczaj panny z arystokracji. Być może w jej marzeniach już nas połączyły godziny, które moglibyśmy spędzić razem, gdyby udało jej się naznaczyć mi schadzki. Czyż nie to chciała dać do zrozumienia tym przeciągłym spojrzeniem przeznaczonym tylko dla mnie? Moje serce biło ze wszystkich sił, nie umiałbym nawet powiedzieć, jak wyglądała panna d'Éporcheville, pamiętałem tylko jasne włosy i mglisty zarys twarzy widzianej z półprofilu, ale już byłem do szaleństwa zakochany. Nagle uświadomiłem sobie, że nie było żadnych podstaw, by właśnie ową blondynkę, która spojrzała na mnie dwa razy, wziąć za pannę d'Éporcheville. Odźwierny przecież wcale mi nie powiedział, że to ona. Wróciłem więc do stróżówki i zadałem pytanie. Odparł, że nic nie potrafi mi powiedzieć, dziś te panny zjawily się bowiem po raz pierwszy, i to pod jego nieobecność. Poszedł jednak zapytać żonę, która ponoć już kiedyś je widziała. Żona odźwiernego myślała właśnie schody kuchenne. Któż nie doświadczał stanów rozkosznej niepewności, mniej lub bardziej podobnej tym, które wtedy przeżywałem? Życzliwy przyjaciel, któremu opisaliśmy dziewczynę spotkaną na balu, dochodzi do wniosku, że musiała to być znana mu osoba, i zaprasza nas oboje na ten sam dzień. Ale czy trudno o pomyłkę, kiedy spośród niezliczonych innych możliwości wybrano jedną, opierając się tylko na naszych słowach? Młoda dziewczyna, którą u niego spotkamy, może okazać się wcale nie tą, za którą szaleliśmy. A jeśli jednak powita nas uśmiechem ta właśnie, o którą szło? Bywa i tak, choć nie zawsze zawdzięczamy to pracy umysłu, jakiej wymagało ode mnie odtworzenie nazwiska panny d'Éporcheville; niekiedy można liczyć tylko na błysk intuicji i łut szczęścia, jeśli nam ono sprzyja. I wtedy na widok owej kobiety mówimy sobie: „Ależ tak, to ona”. Pamiętałem, że kiedyś, przyglądając się gromadce dziewcząt spacerujących nad brzegiem morza, zgadłem nieomylnie, która to z nich jest Albertyną Simonet. Wspomnienie to przyprawiło mnie teraz o nagły, choć krótkotrwały, atak ostrego bólu. Podczas gdy odźwierny szukał żony, zaprzętała mnie myśl o pannie d'Éporcheville, i jak to się zwykle dzieje w chwilach oczekiwania, nazwisko, bez dostatecznych powodów przypisane na chwilę osobie, wyrwało się na wolność, by znów szybować swobodnie pośród wielu możliwości, gotowe przylgnąć do kolejnej postaci i na powrót pozbawić kształtu tę pierwszą, czyniąc ją równie mglistą i nieuchwytną jak w pierwszej chwili. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby odźwierny powiedział mi zaraz, że panną d'Éporcheville była któraś z dwóch brunetek. W takim przypadku rozplynęłaby się w nicości osoba, której istnienia byłem już pewny, którą i zdążyłem nawet pokochać, której pragnąłem nade wszystko. Owa zagadkowa jasnowłosa panna d'Éporcheville, pod wpływem fatalnej wiadomości przyniesionej przez odźwiernego, rozpadłaby się z powrotem na substraty, które połączyłem na własną rękę, jak powieściopisarz topiący w tygłu rozliczne składniki — cechy wielu żyjących postaci — by uformować z nich jedną fikcyjną; inaczej bowiem, wśród wziętych prosto z życia osób o przypadkowych nazwiskach, nie nacechowanych żadną intencją, zagubiłoby się przesłanie dzieła. Gdyby odźwierny wrócił z niepomyslną wiadomością, moje wyobrażenia o pannie d'Éporcheville poszły-

by w rozsypkę; ale stało się inaczej, utwierdziłem się w swej pewności, kiedy po chwili usłyszałem, że była nią właśnie blondynka!

W tejże chwili nabrałem pewności, że nie mogło być inaczej. Zbieg okoliczności okazałby się już nazbyt wyszukany, gdyby z owej trójki dziewcząt, z których jedna spojrzała na mnie tak obiecująco i niemal bez żenady posłała mi uśmiech (posłużył on za pierwszą poszlakę potwierdzającą domysły), jakaś inna miała okazać się w końcu tą panną, która odwiedzała domy schadzek i nosiła nazwisko d'Éporcheville.

Zaczął się dla mnie dzień pełen gorączkowego pośpiechu. Wybrałem się kupić parę rzeczy, które mogły dodać mi blasku i olśnić pojutrze gości pani de Guermantes, bo miałem nadzieję spotkać u niej tę łatwą pannę i umówić się na schadzkę (na pewno znalazłbym okazję, by choć przez chwilę porozmawiać z nią w cztery oczy w kącie salonu). Wcześniej jednak udałem się na pocztę i dla większej pewności zadeszowałem do Roberta, by sprawdzić nazwisko i dowiedzieć się, jak wygląda młoda kobieta, o której mi opowiadał; spodziewałem się, że odpowiedź nadejdzie jeszcze przed wizytą u pani de Guermantes, do której, według odźwiernego, ona także wybierała się pojutrze. Nie myśląc ani przez chwilę o niczym innym, zapomniawszy całkiem nawet o Albertynie, zdecydowany byłem stawić się punktualnie na wizytę u księżnej, cokolwiek by mnie przedtem spotkało, choćbym ciężko zachorował, choćbym musiał się kazać tam zanieść. Jeśli depeszowałem do Roberta, to nie dlatego, bym nie był pewien, czy trafnie skojarzyłem nazwisko z osobą, bym wątpił jeszcze, czy spotkana przeze mnie dziewczyna była tą samą, o której mi mówił. Miałem niezachwianą pewność. Ale w swojej niecierpliwości nie mogłem doczekać się dnia wizyty, pomyślałem więc, że przyjemnie będzie z depeszy dowiedzieć się dodatkowych szczegółów, które zawczasu dałyby mi poczucie tajemnej władzy nad panną d'Éporcheville. Gdy w biurze telegraficznym, z ożywieniem człowieka, w którym rozpała się nadzieja, układałem treść mojej depeszy, nie mogłem nie zauważyć, o ileż lepszym orężem dysponuję teraz wobec panny d'Éporcheville niż w czasach dzieciństwa, kiedy usychałem z miłości do Gilberty. Wystarczyło, bym wypełnił blankiet depeszy, urzędnik wziął go ode mnie i nadał; druty najszybszej w świecie kompanii telegraficznej, mające w swym zasięgu całą Francję i basen Morza Śródziemnego, jak również hulaszczą przeszłość Roberta, przydatna do określenia tożsamości kobiety, którą spotkałem, oddane były na usługi mojego dopiero zarysowującego się romansu. Tymczasem mogłem o nim zapomnieć, do innych już należało zadbać o to, by przed upływem dwudziestu czterech godzin wszystko się tak lub inaczej wyjaśniło. A przecież kiedyś, przyprowadzony do domu z Pól Elizejskich przez Franciszkę, zdany na własne siły, mogłem się tylko spalać w ogniu bezsilnej żądy; pozbawiony możliwości korzystania ze zdobyczy cywilizacji, kochałem jak mieszkaniec buszu, a nawet — skoro nie była mi dana swoboda ruchu — jak roślina. Od chwili nadania telegramu ogarnęło mnie istne szaleństwo. Mój ojciec miał wyjechać na jeden dzień i oczekiwał, że będę mu towarzyszył, co uniemożliwiłoby mi złożenie wizyty księżnej; jego żądanie przyprawiło mnie o atak wściekłości i takiej rozpacz, że matka wstawiła się za mną i wyjednała, by pozostawił mnie w Paryżu. Potem przez wiele godzin nie mogłem jeszcze ochłonąć z gniewu, podczas gdy miłość do panny d'Éporcheville wezbrała we mnie gwałtownie wobec rzuconej między nas przeszkody, bo przez chwilę obawiałem się, że wytęskniona godzina tej wizyty — do której nie przestawałem uśmiechać się w duchu, niby do skarbu, którego nie oddałbym za nic — wcale nie nadejdzie. Niektórzy filozofowie utrzymują, że świat zewnętrzny nie istnieje, a życie toczy się tylko w naszym umyśle. Jakkolwiek z tym jest, miłość, nawet w swych najskromniejszych początkach, dostarcza przykładów świadczących niezbicie o tym, że ów zewnętrzny świat niewiele dla nas znaczy. Gdybym musiał nakreślić z pamięci portret panny d'Éporcheville, powiedzieć o niej parę słów albo choćby podać rysopis, nie potrafiłbym tego zrobić. Widziałem ją z profilu, w ruchu, wydało mi się, że jest przystojna, wysoka, jasnowłosa, więcej nic o niej nie wiedziałem. Ale przepelniające mnie uczucia tęsknoty i niepokoju, przypływ śmiertelnego lęku, że nie zobaczę jej już nigdy, jeśli ojciec zabierze mnie w podróż, wszystko to razem, skojarzone z jej niezbyt wyraźnie zapamiętanym obrazem, dość ujmującym, było już miłością. Nazajutrz rano, po nocy nieprzespanej ze szczęścia, dostałem depeszę od Roberta de Saint-Loup: „De

*l'Orgeville*, *de* — partykuła, *l'orge* — zboże, jak żyto, *ville*, jak *ville*.<sup>1438</sup> Mała, pulchna, ciemnowłosa, teraz jest w Szwajcarii”. Więc to nie ona.

Chwilę później matka przyniosła mi do pokoju poranną pocztę i położyła niedbale na łóżku z taką miną, jakby myślała o czym innym, i szybko wycofała się, zostawiając mnie samego. Ale znalazłem chytre wybiegi mojej drogiej mamy, wiedziałem, że z jej twarzy można czytać nieomylnie, jeśli zna się klucz, którym jest jej pragnienie sprawiania innym przyjemności. Uśmiechnąłem się i pomyślałem: „W poczcie jest coś bardzo dla mnie ciekawego, mama przybrała ten obojętny i znudzony wyraz twarzy tylko po to, żeby niespodzianka była zupełna, nie chciała bowiem mnie jej pozbawić jak ci ludzie, którzy potrafią odebrać nam połowę przyjemności, wykładając od razu kawę na ławę. Nie została przy mnie ani chwili dłużej, obawiała się bowiem, że powodowany miłością własną zechcę zataić radość i przez to odczuję ją w mniejszym stopniu”. Wychodząc, natknęła się w progu na Franciszkę, która właśnie wchodziła. Moja matka nakłoniła Franciszkę do odwrotu, pociągnęła ją za sobą, zdumioną i skonsternowaną. Zdaniem Franciszki z racji pełnionego urzędu przysługiwał jej bowiem ten przywilej, że wolno jej o każdej porze wejść do mojego pokoju bez pukania i przebywać w nim tak długo, jak jej się spodoba. Ale uraza, malująca się na jej obliczu pospołu z osłupieniem, ulotniła się w mgnieniu oka, jej miejsce zajął zaś posępny grymas uśmiechu, lepkiego od wyniosłej litości i stoickiej ironii, jaką wydzielał podrażniony gruczoł miłości własnej dla zagojenia zadanych mu ran. Aby nie czuć się pogardzaną, gardziła nami sama. Znała nas dobrze, byliśmy jej państwem, kapryśnymi stworzeniami, które nie grzeszą inteligencją i znajdują przyjemność w dręczeniu istot rozumniejszych od siebie, czyli służby, mnóstwem bzdurnych rozporządzeń, jak to, żeby gotować wodę w czasie epidemii, odkurzać meble kawałkiem wilgotnego sukna, opuścić pokój, w którym miało się zamiar dłużej zabawić — wszystko jedynie dla pokazania, że to oni rządzą.

Matka, wychodząc w pośpiechu, zabrała świecę. Zauważyłem, że położyła mi pocztę pod ręką, żeby nie ześliznęła się z koldry. Ale wymacałem same gazety. Musiał tam być artykuł jakiegoś pisarza, którego lubiłem i który pisywał do gazet rzadko, i to właśnie miała być owa niespodzianka. Zbliżyłem się do okna, rozsunąłem zasłony. Dzień był jeszcze bezbarwny i mglisty, ale widok nieba, różowiejącego niczym blachy kuchenne, pod którymi o tej porze rozpała się ogień, tchnął we mnie nadzieję; mieszało się z nią marzenie o przebudzeniu, po nocnej podróży, na małej stacyjce u stóp wzgórza, gdzie ujrzałem kiedyś rumianą mleczarkę.

Otworzyłem „*Le Figaro*”. Cóż za przykrość! Artykuł na pierwszej stronie nosił taki sam tytuł, jak ten, który im posłałem i którego nigdy nie zamieścili. Ależ nie tylko tytuł, mój wzrok padał na słowa podobne do tych, których sam użyłem. Tego już było za wiele. Pomyślałem, że będę musiał zaprotestować. I w tejsze chwili usłyszałem głos Franciszki, oburzonej, że ją wypędzono z mojego pokoju, który miała za główną scenę swych wiekopomnych występów. Utyskiwała:

— Wielkie mecyje! Znam tego chłopca od małości! Rozumie się, że nie było mnie jeszcze, kiedy go matka rodziła, ale żeby nie skłamać, jak tu nastalam, nie miał nawet pięciu lat!

Ależ było tam znacznie więcej niż kilka podobnych sformułowań, wszystkie zdania były moje, i podpis także mój... To mój artykuł nareszcie się ukazał! Ale mój umysł, który w owym czasie był już rozleniwiony i łatwo popadał w odrętwienie, przez dłuższą chwilę kontynuował wątek poprzedniej myśli, nie przyjmując do wiadomości, że rozpoznałem swój własny artykuł; jak u starych ludzi, którzy muszą doprowadzić do końca każdą rozpoczętą czynność, choćby w trakcie okazała się zbyteczna, choćby jej sens postawiła pod znakiem zapytania jakaś niebezpieczna przeszkoda. Potem zacząłem się zastanawiać, czym jest strawa duchowa, dostarczana przez gazety, jeszcze ciepłe i wilgotne od prasy drukarskiej i od mgły poranka, w której roznosi się je i wręcza służącym, by mogły zostać podane państwu obok filiżanki kawy z mlekiem; oto cudowne rozmnożenie chleba, pokarm jedyny i zarazem powielony w dziesięciu tysiącach egzemplarzy, ten sam w swej nieprzebranej masie i w każdym domu z osobna, obecny wszędzie.

<sup>1438</sup>*de* — partykuła; *orge* — jęczmień; słowo *ville*, oznaczające miasto, często występuje w złożeńiach w nazwach miejscowości i nazwiskach. [przypis tłumacza]

To, co miałem w ręku, nie było jedynie egzemplarzem gazety, jednym z dziesięciu tysięcy. Ten artykuł był czymś więcej niż tylko dziełem stworzonym przeze mnie; był on dziełem przeze mnie stworzonym i pochłanianym przez wszystkich. Żeby docenić w całej rozciągłości wagę zdarzenia, które miało teraz miejsce w każdym domu, musiałbym przeczytać ten artykuł nie jako jego autor, ale jeden z wielu czytelników gazety; znalazłbym w nim coś więcej, niż włożyłem — ślad własnej myśli, odcisnięty w tysiącach głów. Musiałem więc choć na chwilę przestać się czuć autorem, przeistoczyć się w jakiegoś zwykłego czytelnika. Ale od razu ogarnął mnie niepokój. Czy nie uprzedzony czytelnik w ogóle zwróci uwagę na mój artykuł? Rozłożyłem gazetę niedbale, tak jak uczyniłby ów nie uprzedzony czytelnik, zrobiłem nawet minę kogoś, kto nie mając pojęcia, co w niej dzisiaj znajdzie, chce ją szybko przejrzeć w poszukiwaniu ważnych wiadomości o wielkim świecie i o polityce. Ale mój artykuł zajmował tyle miejsca, że nawet kiedy próbowałem ominąć go wzrokiem (dla uzyskania bardziej wiarygodnych wyników odmówiłem sobie wszystkiego, co mogłoby przechylić szalę na moją korzyść, niczym ktoś, kto odliczając minuty oczekiwania, woli raczej zwalniać niż przyspieszać), w przelocie i tak zawadziłem wzrokiem o jego fragment. Lecz nawet ci, którzy czytają artykuły wstępne, często wcale nie patrzą na podpis. Ja sam nie potrafiłbym powiedzieć, czyjego autorstwa był artykuł wstępny zamieszczony we wczorajszym numerze gazety. Natychmiast obiecałem sobie, że będę pilnie czytywał wstępniaki, nie pomijając nazwiska autora. Ale zauważyłem ze smutkiem — jak zazdrosny mężczyzna, który nie zdradza swojej kochanki, by samego siebie utwierdzić w przeświadczeniu o jej wierności — że moje szlachetne postanowienie wcale nie skłoni innych czytelników, by w zamian poświęcili mi więcej uwagi. Niektórzy wyjechali na polowanie, inni musieli wczesnym rankiem wyjść z domu. Mimo wszystko, znajdzie się przecież ktoś, kto przeczyta. Zatem i ja rozpoczynam lekturę. Wiem, rzecz jasna, o tym, że wielu ludziom nie spodoba się mój artykuł, ale kiedy go czytam, wydaje mi się, że myśl, kryjącą się w każdym słowie przelanym na papier, widać czarno na białym; toteż nie umiem sobie wyobrazić osoby, która otworzywszy oczy, nie ujrzałaby tego, co ja widziałem. Z tą samą naiwnością, z jaką ktoś jeszcze wierzy, że słowa wypowiedane do słuchawki telefonu niosą się po drutach w tej samej postaci, w jakiej je słyszymy, wyobrażałem sobie, że autor może przekazywać czytelnikowi swoje myśli w sposób bezpośredni, gdy tymczasem w rzeczywistości czytelnik podąża za własnymi jedynie myślami. W tej samej chwili, kiedy wyobrażałem sobie, że jestem pierwszym z brzegu czytelnikiem, obecny we mnie autor próbował odtworzyć tok myślenia tych, którzy będą mój artykuł czytali. Choćby nawet pani de Guermentes nie zrozumiała tego zdania, które musi się podobać Blochowi, rozbawi ją za to refleksja, którą Bloch pogardzi. Toteż każdy z fragmentów, mogących się, jak sądziłem, nie spodobać tej czy innej osobie, znajdował od razu innego amatora, i całość musiała niechybnie zostać wyniesiona pod niebiosa przez cały tłum ludzi, co wyleczy mnie z niewiary w siebie, uwolni od ciężaru dalszej obrony moich racji. W istocie bowiem z wartością takiego artykułu, choćby był nawet najwyższej próby, jest tak jak ze sprawozdaniami z Izby Deputowanych, gdzie kwestia „To się jeszcze okaże”, wygłoszona przez ministra, jest tylko częścią, najmniej istotną, fragmentu, który w całości brzmi na przykład tak: PREZES RADY MINISTRÓW, MINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH I WYZNAŃ — „To się jeszcze okaże” (*Burzliwe owoce na skrajnej lewicy, okrzyki „Brawo! Brawo!” w kilku ławach po lewej i w centrum*); oto rozwinięcie godne początku i nie ustępujące mu zakończenie. O uroku takiego zdania przynajmniej po części stanowi to, co jest skazą całego tego literackiego gatunku, nie wyłączając nawet słynnych *Poniedziałków*, istotą wartości dzieła są tu bowiem emocje czytelników. Objawi się ono zbiorowej wyobraźni okaleczone niczym posąg Wenus, jeśli poprzestaniemy na myśli autora, piękno bowiem może dostąpić urzeczywistnienia tylko w sercach publiczności i w nich tylko może się dopełnić. A ponieważ tłum, choćby nawet złożony z samej śmietanki towarzyskiej, nie miewa artystycznej natury, odcisnięty w nim ślad myśli zawsze będzie miał w sobie coś pospolitego. Sainte-Beuve mógł w każdy poniedziałek wyobrażać sobie panią de Boigne w jej łóżu z baldachimem, jak w „Constitutionel” czyta jego artykuł, zachwycając się pewnym pięknym zdankiem, którym on także cieszył się długo i którego z początku nie zamierzał wcale publikować, uznał jednak za właściwe umieścić je niby sponkę w swoim felietonie, by nadać mu im-

pet pocisku; kanclerz bez wątpienia także je przeczytał i ze swej strony nie omieszka go przytoczyć swej oddanej przyjaciółce podczas wizyty, którą złoży nieco później. Diuk de Noailles, odziany w szare spodnie i surdut, zaprosi go do swego powozu jeszcze tegoż wieczoru i powtórzy mu, co się o nim mówiło w towarzystwie, jeśli już wcześniej pani d'Arbouville jakimś słówkiem nie dała mu tego do zrozumienia. Swoją własną niepewność mogłem przeciwstawić opinii dziesięciorga tysięcy moich wdzięcznych czytelników, toteż w miarę lektury rosło we mnie poczucie siły i wiara we własny talent, tym większa, w im głębsze popadałem zwątpienie poprzednio, gdy pozostawałem jedynym adresatem zdań, które wyszły spod mojego pióra. Oto moja myśl docierała w jednej chwili do tak wielu ludzi, a jeśli nie myśl sama, bo nie wszyscy byli zdolni ją pojąć, to przynajmniej nazwisko, powtórzone w każdym egzemplarzu, powoływało do życia mój upiększony, pochlebny wizerunek, i roztaczało blask ponad głowami niczym zorza rozświetlająca umysły, piękniejsza od tej prawdziwej, która jaśniała właśnie różowością w szybach niezliczonych okien; toteż ogarniało mnie triumfalne poczucie szczęścia i własnej potęgi.

Widziałem już Blocha, Guermantów, Legrandina, Annę i pana X..., wydobywających z każdego zdania obrazy, które ja w nim zamknąłem. Tymczasem, usiłując wcielić się w pierwszego z brzegu czytelnika, nie przestawałem jednak czuć się autorem. Ale by się stać ową istotą nie do pomyślenia, łączącą w sobie dwie, których połączyć niepodobna, i z każdej z nich uszczknąć sobie cząstkę najbardziej użyteczną, musiałem, pozostając autorem, spojrzeć na swoje dzieło z punktu widzenia czytelnika bez wymagań, jakie miałby ten, kto efekt swoich wysiłków porównuje z niedościgłym zamysłem. Stronice te w trakcie ich powstawania wydawały mi się tak blade w porównaniu z myślą, która je powołała do życia, tak zagmatwane i mętne wobec harmonijnej i przejrzystej wizji, tak pełne mielizn, których nie zdołałem się ustrzec, że w tamtym czasie ich lektura sprawiała mi ból, potęgowała we mnie rozpacz niemocy i poczucie nieuleczalnego braku talentu. Teraz jednak, przemieniwszy się w czytelnika, zrzuciłem na barki innych trud oceny; odczytując, co napisałem, wyzbywałem się własnych wyobrażeń o tym, co chciałem napisać. I zatopiony w lekturze, udawałem przed sobą samym, że dzieło to stworzył ktoś inny. Wówczas wszystkie moje epitety, metafory, odniesienia zaistniały same dla siebie, nie zaś jako świadectwo fiaska mojej wizji, zachwycałem się więc ich błyskotliwością, oryginalnością i głębią. A jeśli nawet chwilami upadałem na duchu, to zaraz znajdowałem schronienie w duszy jakiegoś urzeczzonego, pierwszego z brzegu czytelnika i mówiłem sobie: „Któż to zauważy? Może i tkwi tutaj jakiś feler. Ale do diabła z tymi, którym on przeszkadza. Znajdą tu pod dostatkiem rzeczy ładnych, więcej, niż im się trafia zazwyczaj”. Toteż, ledwie skończyłem tę krępującą lekturę, od razu zapragnąłem rozpocząć ją od nowa, choć przedtem nie starczało mi odwagi, by przeczytać rękopis. Nic bowiem bardziej niż własne dzieło nie skłania, by powiedzieć: „Znacie? To poczytajcie”. Postanowiłem wysłać Franciszkę po większą ilość egzemplarzy do rozdania wśród znajomych; zamierzałem jej tak powiedzieć, w rzeczywistości jednak pragnąłem doświadczyć namacalnie cudu zwielokrotnienia mojej myśli i wcielając się w kolejnego czytelnika, który dopiero co otworzył „Le Figaro”, odnaleźć te same zdania w innym egzemplarzu gazety. Sto lat nie widziałem Guermantów i właśnie miałem złożyć im wizytę; ożywiła mnie nadzieja, że od nich dowiem się, jak został przyjęty mój artykuł.

Marzyłem o różnych czytelnikach, do których sypialni przeniknąłbym z ochotą i do których wraz z gazetą dotrze jeśli nie moja myśl, może zbyt trudna, to chociaż samo nazwisko, głoszące im moją chwałę. Lecz przecież chwała tych, których się nie kocha, nie porusza serc, tak samo jak nie porusza intelektu myśl, której się nie pojmuje. Co do innych, mówiłem sobie, jeśli stan mojego zdrowia będzie się nadal pogarszał i z tego powodu przestanę ich widywać, to przyjemnie będzie dalej pisać, by chociaż w taki sposób móc się z nimi spotykać, coś im szepnąć między wierszami, zjednywać ich dla moich opinii, podobać się i być obecnym w ich sercach.

Tak właśnie sobie mówiłem, stosunki towarzyskie były bowiem jak dotąd jedną z ważniejszych stron mojego życia i niepokoiła mnie myśl o przyszłości, w której miałyby się urwać; w taki zaś sposób mogłem przypominać się przyjaciółom, może nawet zaskarbić sobie ich podziw, i czerpać stąd otuchę, nim wrócę do zdrowia na tyle, by znowu bywać. Tak sobie mówiłem, sam nie bardzo w to wierząc, chociaż bowiem ich pamięć sprawiłyby mi przyjemność, czułem, że naprawdę liczyć mogę tylko na przyjemności natury

wewnętrznej, duchowej; że znajdę je, gdy przestanę ich oczekiwać od kogośkolwiek z moich przyjaciół, gdy zacznę pisać dla siebie; i że nawet jeśli pisałbym tylko po to, by w ten pośredni sposób utrzymywać kontakty, by podobać się innym, by pielęgnować swoją pozycję towarzyską, to pisząc, i tak wyzbędę się chęci, by kogokolwiek spotykać, z pozycji zaś towarzyskiej, jaką mogłoby mi zapewnić pisanie, nie odniosę pożytku, bo miejsce światowych uciech zajmie w moim życiu literatura.

Toteż kiedy po obiedzie poszedłem do pani de Guermantes, to już nie tyle dla panny d'Éporcheville, która po depeszy od Roberta de Saint-Loup utraciła wszystko, co mnie w niej nęciło, ile dla samej księżnej, czytelniczki mojego artykułu; miałem nadzieję, słuchając jej, zorientować się, jak przyjęła artykuł publiczność, czyli ci, którzy prenumerują albo kupują „Le Figaro”. Do pani de Guermantes szedłem zresztą nie bez przyjemności. Choćbym sobie w kółko powtarzał, że ten salon od innych różni się tylko długą historią obcowania z nim mojej wyobraźni, to jednak żadne wyjaśnienie źródeł tej różnicy nie uczyniło jej mniej istotną. Nazwisko Guermantes przyjmowało dla mnie zresztą wiele różnych postaci. Jeśli ta, która w mojej pamięci zapisała się niczym w książce adresowej, była doszczętnie wyzuta z poezji, istniały też formy dawniejsze, pochodzące z czasów, kiedy nie znałem jeszcze pani de Guermantes osobiście; łatwo ulegały we mnie przemianom, zwłaszcza że gdy przez długi czas nie widywałem osoby, jasność bijąca ze spojrzenia bladła wobec tajemnej aureoli nazwiska. Wtedy na nowo zaczynałem myśleć o domu pani de Guermantes niczym o miejscu nierzeczywistym. Tak też powracałem do obrazów zasnutego mgłami Balbec z moich dawnych marzeń, jak gdybym sam nigdy tam nie był; albo do wspaniałego wyobrażenia pociągu pierwsza piętnaście, jakbym nim jeszcze nie jechał. Na chwilę przestawałem słuchać głosu rozsądku, który mówił mi, że były to tylko miraże, takie jak postać przyjaciela, gdy przywołamy jego obraz, przez moment nie pamiętając, że umarł. Ale widok przedpokoju księżnej przywrócił mi poczucie rzeczywistości. Pocieszyła mnie myśl, że, mimo wszystko, to jej osoba wyznacza punkt styczności moich marzeń i realnego świata.

W salonie ujrzałem jasnówłosą młodą kobietę, którą przez jeden dzień i jedną noc brałem za pannę z opowieści Roberta de Saint-Loup. Ona sama poprosiła zaś księżną, żeby „pomogła nam odnowić znajomość”. I rzeczywiście, już w progu uległem wrażeniu, że znamy się doskonale. Wrażenie to rozproszyła księżna, mówiąc do mnie:

— Nie wiedziałam, że pan znał pannę de Forcheville.

Przeciwnie, byłem pewien, że nigdy nie przedstawiano mi żadnej pannie noszącej to nazwisko, które na pewno pobudziłoby moją wyobraźnię, nie było mi ono bowiem obce, odkąd poznałem dzieje romansów Odety i zazdrości Swanna. Przytrafił mi się podwójny błąd, gdy zamiast „de l'Orgeville” pamięć podsunęła mi nazwisko „d'Éporcheville”, i „Éporcheville” uznałem za właściwą postać tego, co w rzeczywistości powinno brzmieć „Forcheville”; nie było w tym jednak nic osobliwego. Wydaje się nam, że przedstawiamy rzeczy takimi, jakimi są, że czytamy nazwiska tak, jak są pisane, że prawdą o ludziach jest to, co narzucają nam fotografie — albo też ramy teorii psychologicznych, w których postaci zostaną równie bezwzględnie uwięzione. W istocie zupełnie nie to objawia nam się na co dzień. Widzimy, słyszymy i pojmujemy na przekór temu, co nas otacza. W Combray przez dwadzieścia pięć lat Franciszka słyszała z prawa i lewa nazwisko pani Sazerat, a mimo to zawsze nazywała ją panią Sazerin, wytaczając przeciwko naszym sprostowaniom całą potęgę swej nieustępliwości, nie tylko przez siebie właściwy, pełen pychy upór, z jakim obstawała przy własnych błędach, i nie tylko dlatego, że *Deklarację praw obywatelskich* z roku 1789 dołączyła do wyobrażenia Francji w duchu św. Andrzeja Polnego (ze wszystkich praw obywatelskich domagała się jednego tylko prawa — do innej niż nasza wymowy i do utrzymywania, że mówi się „kontrol”, „inną razą” i „pomarańcz”). Upierała się przy swoim także z tej przyczyny, że zawsze i nieodmiennie słyszała „Sazerin”. Ta wieczna pomyłka, którą jest „życie”, zniekształca na tysiąc sposobów nie tylko świat obrazów i dźwięków, lecz także sferę uczuć, stosunków społecznych albo przekonań historycznych. Księżna Luksemburska mogła być w oczach małżonki premiera tylko zwykłą kokotą — i to jeszcze nic. Bardziej dalekosiężne okazują się konsekwencje pomyłki, którą popełnił Swann: sądząc, że trudno mu będzie zdobyć Odetę, rozwinął cały romans i ściągnął na siebie cierpienia, które zgoła się wzmogły, gdy poznał prawdę. Jeszcze bardziej

brzemienna w skutki może być opinia Niemców o Francuzach, którzy w ich oczach dyszą żądzą odwetu. Świat jest dla nas tylko nagromadzeniem bezkształtnych, oderwanych wyobrażeń, które staramy się połączyć przypadkowymi zbitkami myśli, a potem wyciągamy z nich zbyt daleko idące wnioski. Nie miałem więc powodu zdziwić się, gdy usłyszałem nazwisko „de Forcheville”; już zdążyłem pomyśleć sobie, że może to jakaś krewna tegoż de Forcheville’a, o którym tyle słyszałem, ale młoda jasnowłosa osoba odezwała się do mnie natychmiast, zdając się taktownie uprzedzać jakieś niewygodne dla siebie pytanie:

— Pewnie pan nie pamięta swojej przyjaciółki Gilberty, ale znaliśmy się kiedyś bardzo dobrze, często bywał pan u mnie w domu. Dobrze zgadłam, że mnie pan nie poznaje. A ja rozpoznałam pana od razu.

Można było przez to zrozumieć, że „od razu” rozpoznała mnie w salonie księżnej. Ale w rzeczywistości miało to miejsce parę dni wcześniej, na ulicy; ponoć powiedziała mi wtedy „dzień dobry”. Pani de Guermantes powtórzyła mi potem, co jej Gilberta opowiedziała, uważając to za fakt przezabawny i niewiarygodny: że szedłem za nią, wzięwszy za kobietę lekkich obyczajów. Po jej wyjściu dowiedziałem się, dlaczego nosi teraz nazwisko de Forcheville’a. Po śmierci Swanna Odeta, która wszystkich zaskoczyła swą głęboką, szczerą i długotrwałą żalobą, stała się wdową bardzo zamożną. Forcheville poślubił ją, odwiedzwszy uprzednio rodowe zamki krewnych, by upewnić się, że przyjmą jego małżonkę na łono rodziny. Krewni się opierali, ustąpili jednak, gdy ujrzeli własną korzyść w tym, co mogło oszczędzić wydatków ponoszonych na rzecz ubogiego kuzyna; wydobywszy się bowiem z dnia na dzień z nędzy, miał odtąd opływać w dostatki. Wkrótce potem umarł wuj Swanna, który, dziedzicząc po licznych krewnych, zgromadził ogromny majątek; a że wszystko zapisał Gilbertce, była teraz jedną z najbogatszych partii we Francji. Lecz działo się to w okresie, kiedy w następstwie afery Dreyfusa, jednocześnie z coraz liczniejszym przenikaniem Żydów do wielkiego świata, ujawnił się antysemityzm. Politycy nie mylili się w swych przewidywaniach, że odkrycie pomyłki sądowej powinno nadwątlić jego siły. Ale tymczasem, przynajmniej na razie, wzmógł się on jeszcze i zaostrzył. Forcheville, jak to bywa wśród drobnej szlachty, z domu rodzinnego wyniósł przekonanie, że nosi nazwisko starsze od nazwiska książąt de La Rochefoucauld, sądził więc, że jeśli ożeni się z wdową po Izraelicie, to spełni uczynek równie miłosierny, jak milioner, który kobietę upadłą podnosi z błota i nędzy ulicznego życia. Gotów był owej łaski równie szczerze udzielić Gilbertce, która dzięki swoim milionom mogła liczyć na świetne małżeństwo, gdyby nie przynosiło jej ujmy okropne nazwisko „Swann”. Oświadczył więc, że chce ją adoptować. Jak pamiętamy, po ślubie Swanna pani de Guermantes — zaskakując krąg przyjaciół i znajomych, co zwykła czynić z ochotą przy każdej okazji — nie zgodziła się przyjmować jego córki, tak samo, jak nie przyjmowała żony. Odmowa ta była tym bardziej okrutna, że w oczach Swanna jedyny sens nadawała małżeństwu z Odetą nadzieja, iż pozwoli mu ono wprowadzić córkę do salonu pani de Guermantes. Miał już swoje lata i powinien był wiedzieć, że marzenia się nie spełniają z najrozmaitszych przyczyn; jedna z nich miała także działanie uboczne — kojący wpływ na zgryzotę, jaką przejmowała go myśl, że nie udało się doprowadzić do tej prezentacji. Idzie tutaj o pewną właściwość natury ludzkiej: czegokolwiek pożądamy — poczynając od pstrąga, którego w łunach zachodu podadzą na kolację w sąsiedniej miejscowości i który zwabi domatora, zmuszając go do podróży kolejką, aż po nieprzystępną kasjerkę, obiekt załotów mężczyzny bez skrupułów, który pragnie ją olśnić, podjeżdżając pewnego dnia pod sklep kosztownym ekwipażem — w tym celu przedtem dokona morderstwa, jeśli wystarczy mu odwagi i stanowczości, a jeśli jest raczej gnuśny i woli poprzestać na snuciu planów, zacznie życzyć śmierci krewnemu, po którym spodziewa się dziedziczyć — każde dążenie, skłaniające nas do działania, do podróży, małżeństwa czy zbrodni, odmieni nas na tyle gruntownie, że zubożymy nam cel, który nam pierwotnie przyświecał, i to do tego stopnia, iż puścimy w niepamięć marzenia osoby, którą byliśmy, nim przyszło nam stać się pasażerem, małżonkiem, mordercą albo pisarzem samotnikiem (ten rozpoczął swe dzieło w pogoni za sławą, i w taki to sposób rozstał się z żądzą sławy). Zresztą jeśli nawet uprzemy się doprowadzić sprawę do końca, by nie spełzły na niczym, okaże się, że chmury zasłoniły zachód słońca, my zaś, przemarznięci, zamiast pstrąga podanego w ogrodzie wolelibyśmy w ciepłe kominka zjeść gorącą zupę; że ekwipaż nie zrobił wrażenia na kasjerce, w której



nagle bogactwo wzbudziło nieufność, choć przedtem szanowała nas z jakichś innych powodów. Krótko mówiąc, po ślubie Swann zaczął przywiązywać wagę przede wszystkim do stosunków swojej żony i córki z panią Bontemps i osobami jej pokroju.

Przyczyny, dla których księżna nigdy nie pozwoliła sobie przedstawić pani i panny Swann, wynikały z właściwych Guermantom pojęć o życiu światowym; można by do tych przyczyn dorzucić jeszcze beztronską pogodę ducha, z jaką ludzie, gdy sami nie kochają, odwracają się od tego, co w życiu zakochanego uważają za godne potępienia, a co tłumaczy się właśnie miłością. „O, nie, do tego ręki nie przyłożę! Jeśli biedny Swann chce zrobić głupstwo i zmarnować sobie życie, nikt mu tego nie zabroni, ale mnie w swoje sprawy nie wciągnie, bo to się musi źle skończyć. Niech więc robi, co chce. Ale beze mnie”. Oto ich *suave mari magno* — Swann sam doradzał mi przyjąć taką postawę wobec Verdurinów, kiedy od dawna nie kochał już Odety i „mały klan” nic go nie obchodził. Stąd właśnie czerpią swą rozważę sady osób trzecich o namiętnościach, których udało im się uniknąć, i o ciągnących się za namiętnościami życiowych powikłaniach.

Księżna obstawała jednak przy wykluczeniu pani i panny Swann z zacieklej uporem, który zadziwiał wszystkich. W czasach, kiedy panie Molé i de Marsantes nawiązały znajomość z Odetą i ściągnęły już do jej salonu wiele dam z najlepszego towarzystwa, pani de Guermantes nie tylko pozostała nieugięta, lecz postarała się nawet spalić za sobą wszystkie mosty, ponadto nakłoniła swą kuzynkę, księżną Marię de Guermantes, by uczyniła tak samo. W dniach jednego z najcięższych kryzysów politycznych za rządów ministra Rouviera, gdy obawiano się, że lada chwila może wybuchnąć wojna z Niemcami, byliśmy na obiedzie u pani de Guermantes tylko we dwóch z panem de Bréauté. Księżna wydawała się czymś zmartwiona. Zawsze interesowała się polityką, więc pomyślałem, że ona także obawia się wojny; zdarzyło się bowiem kiedyś, że siadłszy do stołu podobnie chmurna i milcząca, gościowi, który ją spytał nieśmiało o przyczynę zmartwienia, odpowiedziała z miną posepną, szczedząc słów: „Martwią mnie Chiny”. Tym razem sama po chwili wyjaśniła zagadkę troski malującej się na jej obliczu, którą pochopnie przypisałem obawie przed wybuchem wojny. Zwróciła się do pana de Bréauté: „Słyszałam, że Maria Aynardowa zamierza wprowadzić obie panie Swann do towarzystwa. W tej sprawie muszę koniecznie zobaczyć się jutro z Marią Gilbertową, we dwie postaramy się zapobiec tej katastrofie. Inaczej świat się zawali. Doceniam postawę tych pań w sprawie Dreyfusa, ale cóż to będzie, jeśli sklepikarka z sąsiedztwa także obwoła się nacjonalistką i w zamian za to zechce, byśmy ją przyjmowali?” Zdumiała mnie błahość tych słów, gdy spodziewałem się innych, ważkich, i poczułem się trochę jak czytelnik, który szukając w „Le Figaro” na zwykłym miejscu ostatnich wiadomości z frontu wojny rosyjsko-japońskiej, znajduje zamiast tego listę osób, które przysłały prezenty ślubne pannie de Mortemart, arystokratyczny mariaż, jako ważniejszy, zepchnął bowiem na sam dół szpalty doniesienia o trwających bitwach morskich i lądowych. Księżna poczytywała sobie zresztą ten niezłomny upór za tytuł do chwały, i nigdy nie traciła okazji, by dać temu wyraz. „Baba! twierdzi — mówiła — że on i ja jesteśmy najwytworniejszymi ludźmi w Paryżu, bo tylko my dwoje nie dopuściliśmy do tego, by kłaniały nam się pani i panna Swann. Elegancja, jego zdaniem, polega teraz na tym, że się pani Swann nie zna”. I księżna śmiała się z całego serca.

Po śmierci Swanna jednakże okazało się, że dalsze utrzymywanie w mocy decyzji o wykluczeniu jego córki z towarzystwa nie daje już księżnej ani śladu satysfakcji, nie syci jej dumy, potrzeby niezależności, zmysłu władzy i skłonności do okrucieństwa, zabrakło bowiem tego, przeciwko komu czyniła to wszystko, czerpiąc rozkoszne poczucie siły stąd, że nie mógł jej żadną miarą nakłonić, by odwołała swój dekret. W tej sytuacji księżna jęła ogłaszać nowe dekrety, wymierzone przeciwko żyjącym, by dać im poczuć, że jest panią życia i śmierci. Dotąd nie zaprzętała sobie głowy małą Swannówną, ale jeśli teraz ktoś o niej wspominał, budziła się w księżnej ciekawość, tak jakby jej mówiono o jakimś modnym miejscu, i ciekawości tej nie tłumiała już ambicja, by dać należytą odprawę roszczeniom Swanna. Z drugiej zaś strony, na kształtowanie się uczuć wpływa równocześnie tak wiele różnych czynników, że nie można całkiem wykluczyć, jakoby jej sentyment dla Swanna także miał w tej odmianie swój udział. Na wszystkich szczeblach społecznej drabiny płocze rozrywki towarzyskie pustoszą wrażliwość i niszczą pamięć o zmarłych, księżna zaś bez wątpienia, tak jak wiele osób, potrzebowała obecności, by kogoś lubić (i

celowała w przedłużaniu wizyt swoich gości aż do przesady, zwyczajem wszystkich Guermantów), a ponadto, co rzadsze, potrzebowała jej, gdy chciała choć trochę nienawidzić. Toteż niejednemu z powodu jakiejś urazy odebrała całą swą sympatię za życia, by mu ją przywrócić po śmierci. Ulegała wtedy pragnieniu wynagrodzenia krzywd swoim ofiarom, pamiętając odtąd, zresztą raczej mgliście, tylko ich zasługi, puszczając zaś w niepamięć przejawy małostkowości i niegodziwe postęпки, które tak ją złościły, póki pozostawali przy życiu. Dzięki temu uczynki pani de Guermantes, mimo swej pustoty, nosiły jakiś rys prawdziwie szlachetny (dający się zresztą doskonale pogodzić z podłością). Gdy bowiem trzy czwarte osób schlebia żyjącym i za nic ma umarłych, ona gotowa była tym, którymi pomiatała, pośmiertnie świadczyć przysługi, o jakich za życia na próżno marzyli.

Jeśli chodzi o Gilbertę — każdego, kto ją lubił i współczuł jej zranionej miłości własnej, mogła ucieszyć ta zmiana w nastawieniu księżnej, ale tylko pod warunkiem, że Gilberta z pogardą odrzuciłaby awanse, spóźnione o dwadzieścia pięć lat, i pomściła w ten sposób swoją krzywdę. Niestety, odruchy moralne nie zawsze idą w parze z postępowaniem, ku jakiemu skłania się zmysł praktyczny. Czasem ktoś obrazi niepotrzebnie osobę, na której mu zależało, i obawia się, że z tego powodu na zawsze zaprzepścił nadzieje z nią związane, tymczasem, wprost przeciwnie, właśnie im pomógł się spełnić. Gilberta pozostawała obojętna wobec osób, które zabiegały o jej względy, głębokim zaś podziwem przejmowała ją arogancja pani de Guermantes. Toteż nie ustawała w dociekaniu jej przyczyny. Pewnego razu — ktokolwiek żywił dla niej choć trochę przyjaźni, zawstydziliby się za nią śmiertelnie — przyszło jej do głowy napisać do pani de Guermantes list z zapytaniem, czym to się naraziła młoda panna, która nie zrobiła księżnej nic złego. Guermantowie osiągnęli w jej oczach dostojność zaiste monumentalną, jakiego nawet ich szlachectwo nie mogło im nadać. Gilberta stawiała ich nie tylko ponad inną szlachtą, lecz zgola wyżej od wszystkich królewskich rodów.

Dawne przyjaciółki Swanna czyniły dla Gilberty co mogły. Gdy wśród arystokracji rozniosła się wieść o wielkiej fortunie, która niedawno przypadła jej w spadku, od razu zaczęto zauważać, jak znakomite odebrała wychowanie i jak urocza będzie z niej żona. Krążyła plotka, że kuzynka pani de Guermantes, księżna de Nièvre, zamierza ożenić z nią swojego syna. Pani de Guermantes zniechęciła panią de Nièvre. Wszędzie powtarzała, że takie małżeństwo może obrócić się tylko w skandal. Przerażona księżna de Nièvre zapewniała na prawo i lewo, że nigdy jej ono nawet przez myśl nie przeszło. Pewnego dnia po obiedzie pan de Guermantes miał przy ładnej pogodzie wybrać się z żoną na przechadzkę; pani de Guermantes wkładała kapelusz przed lustrem, błękitne oczy przyglądały się sobie samym, a także jasnym włosom, jeszcze nie tkniętym siwizną, gdy tymczasem pokojówka czekała z kilkoma parasolkami, spośród których jej pani miała wybrać jedną. Smugi słonecznego światła sączyły się przez okno; postanowili skorzystać z pięknego dnia i pojechać do Saint-Cloud. Pan de Guermantes, gotowy do wyjścia, w perłowo-szarych rękawiczkach i cylindrze na głowie, myślał sobie: „Oriana jest doprawdy wciąż jeszcze zachwycająca. Uroczo dziś wygląda”. A widząc swoją żonę w dobrym humorze, powiedział:

— Właśnie mi się przypomniało, co miałem ci przekazać od pani de Virelef. Chce nas zaprosić w poniedziałek do Opery. Ale że będzie miała w łoży małą Swannównę, zabrakło jej śmiałości, więc kazała mi wcześniej wybać grunt. Nie chcę ci niczego narzucać, przekazuję tylko to, co powiedziała. Mój Boże, sądzę, że moglibyśmy... — dorzucił niepewnie; w swym nastawieniu do osób trzecich zawsze byli bowiem zgodni, wszelkie zaś zmiany zachodziły równocześnie u obojgu, wiedział więc, że jej niechęć do panny Swann już się wypaliła i że teraz księżna zapagnie ją poznać. Upravszy się z woalką, pani de Guermantes wzięła sobie jedną z parasolek.

— Ależ będzie, jak zechcesz, nic nie stoi na przeszkodzie. Oczywiście, że możemy poznać tę małą. Wiesz dobrze, że nigdy nie miałam nic przeciwko niej. Po prostu nie chciałam, żeby mnie wzięto za jedną z tych osób, które uznają nieprawę związku swoich przyjaciół. Ot i wszystko.

— I miałaś całkowitą słusność — odparł książę. — Jaśnie pani, jesteś wcieleniem rozumu, a w dodatku do twarzy ci w tym kapeluszu.

— Miły jesteś — powiedziała mu pani de Guermantes z uśmiechem i ruszyła ku drzwiom. Ale nim wsiadła do powozu, zechciała coś jeszcze wyjaśnić: — Teraz wiele

osób bywa u jej matki, która zresztą ma dość taktu, by chorować przez trzy czwarte roku. Mówią, że ta mała jest raczej przyjemna. Wszyscy wiedzą, jak bardzo lubiliśmy Swanna. Więc i to przyjmą za rzecz oczywistą.

A potem pojechali do Saint-Cloud.

Miesiąc później Swannówna, która wówczas nie nazywała się jeszcze de Forcheville, była na obiedzie u Guermantów. Mówiło się o wszystkim. Przy deserze Gilberta odezwała się nieśmiało:

— Wydaje mi się, że państwo bardzo dobrze znali mojego ojca.

— Ależ oczywiście — odparła pani de Guermantes ze smutkiem, chcąc dać do zrozumienia, że żałoba córki jest dla niej święta; umyślnie użyła jednak tonu nieco przesadnego, jakby zależało jej na wywołaniu wrażenia, że nie bardzo wie, o kim mówi. — Zналиśmy się i pamiętam go brrrrdzo dobrze. — (Musiała go w samej rzeczy dobrze pamiętać, bo przecież przez dwadzieścia pięć lat prawie dzień w dzień miewała go u siebie na obiedzie). — Wiem, co to był za człowiek, zaraz pani powiem — dodała, jakby przypadło jej zadanie powiadomienia córki, kim był jej ojciec i dostarczenia jej o nim paru podstawowych informacji. — To był wielki przyjaciel mojej teściowej, znał się też blisko z moim szwagrem Palamedem.

— U nas także bywał, nawet na obiedzie — dodał pan de Guermantes, by podkreślić swą prostotę i rzetelny stosunek do szczegółów. — Pamiętasz przecież, Oriano. Nad wyraz porządny człowiek był z pani ojca. I znać było po nim od razu, że z dobrej rodziny. Zetknąłem się zresztą kiedyś z jego rodzicami. Zadni ludzie, i rodzice, i syn!

Rozumiało się samo przez się, że gdyby jeszcze żyli, księżę mógłby bez wahania protegować syna, razem z rodzicami, na przykład na posadę ogrodnika. W takim to duchu mieszkańcy Faubourg Saint-Germain zwykli opowiadać o osobach stanu mieszczańskiego innym osobom tegoż stanu, po to, żeby chwilowym wyjątkiem uczynionym dla rozmówcy pogłaskać jego próżność, i po to zarazem, by go upokorzyć. Podobnie bywa, gdy antysemita, uprzedzając grzeczny wobec Żyda, z którym prowadzi rozmowę, wyraża w jego obecności ogólne, krzywdzące dla Żydów opinie, i rani w ten sposób jego uczucia, nie narażając się na zarzut grubiaństwa.

Księżna de Guermantes była panią chwili, w której obsypywała swych gości łaskami, by ich jeszcze zatrzymać, lecz była zarazem jej niewolnicą. Zdarzało się czasem księżnej wśród oszołomienia wywołanego rozmową ze Swannem ulec złudzeniu, że darzy go prawdziwą przyjaźnią. Teraz jednak nic takiego nie mogło się już wydarzyć.

— Był przemiłym człowiekiem — dodała ze smutnym uśmiechem, po czym zatrzymała na Gilbertcie swe łagodne spojrzenie, na wszelki wypadek, by stało się jasne — o ile młoda kobieta potrafi to właściwie odczytać — że w cztery oczy i w stosownych okolicznościach pani de Guermantes z chęcią odsłoniłaby przed nią głębię swojego współczucia. Ale pan de Guermantes zapewne był zdania, że okoliczności są właśnie niestosowne, albo też uważał, że tego rodzaju przyipywy wzruszeń są rzeczą kobiet, mężczyźni zaś powinni ich unikać, podobnie jak wszelkich dziedzin życia, uznawanych za kobiece, z wyłączeniem spraw kuchni i piwnicy, te bowiem zastrzegł dla siebie, będąc w nie lepiej wprowadzonym niż księżna. Księżę nie mieszał się do tej rozmowy, nie chcąc jej podtrzymywać, i słuchał z nieskrywanym zniecierpliwieniem. Zresztą gdy tylko nagle fala wzruszenia opadła, pani de Guermantes dorzuciła lekkim tonem kobiety światowej:

— Otóż właśnie chciałam pani powiedzieć, że był on ogrrromnie zaprzyjaźniony z moim szwagrem baronem de Charlus, a także z Voisenon.

(To był zamek należący do księcia Gilberta de Guermantes). Słowa księżnej sugerowały, że znajomość Swanna z panem de Charlus i jej kuzynem Gilbertem była dziełem czystego przypadku, a szwagier i kuzyn księżnej nie tylko byli jedynymi ludźmi z wielkiego świata, których Swann miał szczęście poznać w wyniku jakiegoś szczególnego zbiegu okoliczności (podczas gdy w istocie z całym tym towarzystwem żył za pan brat), lecz także ona sama, pani de Guermantes, aby „wytłumaczyć” Gilbertcie, kim mniej więcej był jej ojciec, pozostający nie wiedzieć czemu w bliskich stosunkach z osobami, których nie powinien był nawet znać, musiała oddać jego sytuację przez uwypuklenie paru szczegółów; tak jak wtedy, gdy dla większego efektu powołujemy się na udział jakiejś znanej postaci w historyjce, którą zamierzamy opowiedzieć. Rozmowa utknęła, a co do Gilberty, było jej to tym bardziej na rękę, że sama od pewnego czasu pragnęła zmienić temat, ży-

wą inteligencję Swanna odziedziczyła bowiem wraz z jego niezrównanym taktem; księżę i księżna poznali się na tym i docenili, toteż poprosili Gilbertę, by wkrótce odwiedziła ich znowu. Z drobiazgowością ludzi nie mających nic innego do roboty coraz to zauważali u tych, z którymi utrzymywali stosunki towarzyskie, jakąś najwykleszą w świecie przyjemną cechę, i wnosili naiwne okrzyki zachwytu niczym mieszczuch, który bawiąc na wsi, ujrzał z bliska źdźbło trawy. Lub też przeciwnie, powziąwszy uprzedzenie, brali z kolei pod lupę i roztrząsali bez końca najdrobniejsze wady, wynalezione nierzadko u tej samej osoby. Co do Gilberty, nie znajdująca pożytecznego zajęcia przenikliwość państwa de Guermantes najpierw skupiła się na jej zaletach:

— Czy zauważyłeś, jak ona wymawia niektóre słowa? — po jej odejściu powiedziała księżna do swego męża. — Zupełnie jak Swann. Jakbym go słyszała.

— Na to samo zwróciłem uwagę, moja droga.

— Poczucie humoru i sposób wysławiania się wzięła po ojcu.

— Według mnie zdecydowanie go przewyższa. Przypomnij sobie, z jaką swadą opowiedziała tę historię o kąpielach morskich. Swann nie był tak żywiołowy.

— Och, mimo wszystko był nadzwyczaj dowcipny.

— Nie mówię, że nie był dowcipny, mówię, że nie był żywiołowy — powiedział pan de Guermantes tonem pełnym udręki, bo podagra dawała mu się we znaki; skoro nie było przy nim nikogo, na kogo mógłby wylać swoje rozdrażnienie, musiała je przyjąć księżna. Sam nie rozumiał jego przyczyny, udął więc zagniewanego, że nie został zrozumiany.

Przychylność obojga księstwa była tak wielka, że zamierzali nawet kiedyś przy sposobności napomknąć Gilbertce o jej „biednym ojcu”, ale okazało się to już niepotrzebne, bo w tym właśnie czasie Forcheville ją adoptował. Mówiła więc „ojcze” do Forcheville’a, swoim ułożeniem i wzięciem podbijała serca arystokratycznych wdów, i jeśli powszechnie sądzono, że Forcheville postąpił wobec niej nad wyraz szlachetnie, to przyznawano też, że była zdolna do wyższych uczuć i potrafiła okazać mu swoją wdzięczność. Najwyraźniej jednak mogła i chciała pozwolić sobie czasem na znacznie więcej swobody w obejściu, na przykład wtedy, kiedy przypominała mi, że się znamy, lub kiedy mówiła mi o swym prawdziwym ojcu, czyniąc dla mnie wyjątek; w jej obecności bowiem nie wspomniano Swanna ani słowem.

Ledwie wkroczyłem do salonu, dostrzegłem dwa rysunki Elstira, które dawniej przebywały na wygnaniu w korytarzu na górze, gdzie zdarzyło mi się je kiedyś przez przypadek zobaczyć. Teraz Elstir był w modzie. Jeśli pani de Guermantes nie mogła przeboleć, że tyle jego obrazów podarowała kuzynce, to nie dlatego jedynie, że stał się modny, ale ponieważ naprawdę zaczęły się jej podobać. Moda rodzi się bowiem z zachwytych tej publiczności, której przedstawicielami byli Guermantowie. Teraz jednak księżna nie mogła nawet marzyć o zakupie innych płócien jego pędzla, bo już od pewnego czasu ceny stale szły w górę, osiągając wysokość zawrotną. Chcąc mieć w salonie cokolwiek Elstira, kazała więc znieść na dół te dwa rysunki, o których mawiała, że je „woli od jego malarstwa”. Gilberta rozpoznała jego rękę.

— To mi wygląda na Elstira — powiedziała.

— Ależ tak! — pośpieszyła z odpowiedzią księżna. — Zawdzięczamy je właśnie pani oj... naszym przyjaciółom. Są wspaniałe. Moim zdaniem przewyższają jego malarstwo.

Nie słysząc tej rozmowy, zbliżyłem się, by obejrzyć rysunki.

— Czy to nie ten Elstir, którego... — zauważyłem, że pani de Guermantes daje mi rozpaczliwe znaki. — Tak, z pewnością to ten Elstir, którego podziwiałem na górze. Tutaj te rysunki prezentują się bez porównania lepiej. A skoro mowa o Elstirze, wspomniałem o nim w moim wczorajszym artykule w „Le Figaro”. Czytali go państwo?

— Pański artykuł był w „Le Figaro”? — zawołał książe z tą samą zapalczywością, z jaką wykrzyknąłby: „Ależ mówi pan o mojej kuzynce!”

— Tak, wczoraj.

— W „Le Figaro”, jest pan pewny? To by mnie bardzo zdziwiło. Każde z nas ma swój egzemplarz „Le Figaro”, więc jeśli jedno coś przeoczy, drugie to zauważy. Prawda, Oriano? Tam nic takiego nie było.

Książe posłał po „Le Figaro” i ustąpił dopiero w obliczu dowodu rzeczowego, jak gdyby do tej pory spodziewał się raczej, że pomyliłem tytuł gazety, w której ukazał się mój artykuł.

— Jakże to, nic nie rozumiem, więc pan zamieścił artykuł w „Le Figaro”? — zagadnęła mnie księżna, z największym wysiłkiem zmusiwszy się do podjęcia tematu, który nie ciekawił jej wcale. — Dajże spokój, Błażeju, poczytasz sobie później.

— Ależ nie, do twarzy księciu z tą wielką brodą rozpostartą na płachcie gazety — zawołała Gilberta. — Ja też przeczytam, kiedy wrócę do domu.

— Broda, tak. Nosi taką brodę teraz, kiedy wszyscy chodzą ogoleni. Wszystko musi robić po swojemu. W czasach, kiedy braliśmy ślub, golił nie tylko brodę, ale i wąsy. Nasi chłopci, którzy go nie znali, nie chcieli wierzyć, że jest Francuzem. A nosił wtedy nazwisko księcia des Laumes.

— Czy teraz istnieje jeszcze jakiś książę des Laumes? — dopytywała się Gilberta, żywo zainteresowana wszystkim, co wiązało się z życiem dwojga ludzi, którzy przez tak długi czas nie chcieli jej znać.

— O, nie — odparła księżna, rzucając jej melancholijne, aksamitne spojrzenie.

— Takie piękne nazwisko! Jedno z najpiękniejszych we Francji! — powiedziała Gilberta, jest bowiem taki rodzaj banałów, które, gdy zegar wybije ich czas, same cisną się na usta każdej w miarę rozgarniętej osobie.

— No cóż, i ja żałuję. Błażej życzył sobie, żeby je przybrał jego siostrzeniec, choć to już nie będzie to samo. Ale można by tak zrobić, zwłaszcza że dziedziczenie tego tytułu nie jest przypisane do praw starszeństwa: może więc i w rodzeństwie przechodzić ze starszego na młodszego. Właśnie pani mówiłam, że Błażej był dawniej gładko ogolony. Pewnego dnia — pamiętasz, złotko, ten odpust w Paray-le-Monial? — mój szwagier Charlus, który lubi gawędzić z chłopami, wypytywał jednego po drugim: „A ty skąd jesteś?”, a będąc z natury hojnym, każdemu dawał parę groszy albo stawiał im wino. Bo Mémé połączył w sobie wyniosłość ze skromnością, jak nikt inny. Może nie kłaniać się diuszom, które jego zdaniem nie dość są diuszami, ale prześciga sam siebie w grzeczności wobec chłopaka od psów. Więc ja mówię do Błażeja: „Spróbuj, Błażeju, też z nimi trochę porozmawiać”. A mój mąż, który nie zawsze miewa własne pomysły...

— Dziękuję ci, Oriano — rzucił książę znad mojego artykułu, nie odrywając od niego oczu, całkowicie pogrążony w lekturze.

— ...zaczepił jakiegoś wieśniaka i powtórzył mu słowo w słowo pytanie swojego brata: „A ty, skąd jesteś?” „Ja jestem z Laumes”. „Z Laumes? No, to jestem twoim księciem”. Chłop popatrzył na wygolone oblicze Błażeja i powiada: „Nie może to być. Pan jest Brytaniec”.

Tak oto w opowieściach księżnej świetne stare nazwiska, jak nazwisko księcia des Laumes, nietknięte zębem czasu, skąpane w kolorycie lokalnym, zajmowały należne im miejsca, całkiem jak wieża katedry w Bourges, w średniowiecznych modlitewnikach wyrastająca wprost z ciżby pospólstwa.

Wniesiono bilety wizytowe, które przekazał na górę lokaj z dołu.

— Nie wiem, czego ona chce, nie znam jej. Tobie chyba zawdzięczam te awanse, Błażeju. Nie potrafisz opędzić się od takich znajomości, mój ty biedaku. — I zwracając się do Gilberty, dodała: — Nie umiałabym pani nawet wyjaśnić, kto to taki, nie zna jej pani na pewno, nazywa się lady Rufus Israël.

Gilberta oblała się jaskrawym rumieńcem.

— Nie znam — potwierdziła (co było kłamstwem tym oczywistszym, że lady Israël pogodziła się ze Swannem na dwa lata przed jego śmiercią, a do Gilberty zwracała się po imieniu). — Ale ze słyszenia wiem doskonale, kim jest osoba, o której pani mówi.

Opowiadano mi, że Gilberta, spytana złośliwie, albo też z niezręczności, przez inną młodą pannę o nazwisko ojca, nie tego przybranego, tylko prawdziwego, zmieszała się i by pozbawić naturalnego brzmienia słowo, które miało paść z jej ust — zamiast „Svann” powiedziała „Svann”, by po chwili zorientować się, że po tej przeróbce nazwisko obciąża ją jeszcze bardziej, bo z angielskiego zrobiło się niemieckie. Dodała więc, ponizając się, by się wywyżżyć: „O okolicznościach mojego przyjścia na świat różnie się opowiada, ale ja nie chcę nic o tym wiedzieć”. Jeśli w owych chwilach pamiętała o rodzicach, z pewnością musiała bardzo się wstydzić swojego postępowania (bo przecież pani Swann wydawała się Gilbertce najlepszą matką i była nią w istocie). Niestety narzuca się przypuszczenie, że to właśnie od nich wzięła takie podejście do życia, albowiem nie

jestemy tylko sobą ani sobą w każdym calu. Do wniesionego przez matkę egoizmu dodana zostanie pula egoizmu innego pokroju, właściwego rodzinie ojca; nie znaczy to, że te dwie jakości się sumują, ani nawet że mnożą się przez siebie; z ich połączenia powstaje egoizm zupełnie nowy, nieporównanie silniejszy i bardziej niebezpieczny. W miarę starzenia się świata, gdy w kolejnych pokoleniach kojarzą się rodziny obciążone tym samym defektem w jego różnych odmianach, co prowadzi do pojawiania się u dzieci odmian jeszcze wyżej rozwiniętych i szczególnie odrażających, siła nagromadzonego egoizmu (by nie wspominać już o innych wadach) doprowadziłaby szybko do zagłady całej ludzkości, gdyby z tegoż samego zła nie zrodziły się, zdolne do jego okiełznania, do utrzymania go w bezpiecznych rozmiarach, środki zaradcze, podobne do tych, które zapobiegają niepożądanemu mnożeniu się pierwotniaków, grożącemu unicestwieniem całej planety, albo samozapyłających się roślin, które pleniąc się bez ograniczeń, zagłuszyłyby wszelką florę na Ziemi. Co pewien czas jakaś inna cecha wchodziła w związek z owym egoizmem, przetwarzając go w nową, szlachetniejszą substancję. Chemia moralności zna nieskończenie wiele procesów, prowadzących do zatrzymania i unieszkodliwienia pierwiastków szczególnie niebezpiecznych, a to z kolei ubarwia dzieje rodów fascynującą różnorodnością. Toteż z pokładami nagromadzonego egoizmu, takimi jak te, które zalegały w Gilbertcie, mogły współlistnieć najbardziej urocze cechy rodziców. Czasami któraś z nich objawia się nagle w całej okazałości i przez chwilę gra pierwsze skrzypce, wzruszając swą całkowitą i czystą naturalnością. Gilberta zapewne nieczęsto posuwała się tak daleko, jak wówczas, kiedy dała do zrozumienia, że jest nieprawym dzieckiem któregoś z wielkich tego świata. Zawsze jednak ukrywała swoje pochodzenie. Może po prostu nie lubiła o tym mówić, wolała raczej, żeby pytający dowiadywał się od innych. A może naprawdę sądziła, że zdoła zatrzeć ślady? Może wierzyła w to ową wiarą pełną niepewności, która jeszcze nie jest wątpliwością i pragnieniom pozostawia cię szansy, jak u Musseta, gdy mowa o nadziei w Bogu.

— Nie znam jej osobiście — uściśliła Gilberta. Czyżby naprawdę liczyła na to, że pod nazwiskiem panny de Forcheville przestanie być w oczach świata córką Swanna? Być może zależało jej na jakimś wąskim kręgu, którego zdanie w przyszłości miałoby szansę stać się opinią ogółu. Tymczasem jednak nie mogła się chyba ludzi co do liczebności owej grupy, wiedziała bowiem, że na jej widok ludzie zaczęli szeptać: „To córka Swanna”. Ale wiedziała o tym tylko stąd, skąd wiedzą idący na bal, że w tej samej chwili ktoś z nędzy popełnia samobójstwo; jest to wiedza odległa i mglista, do której pogłębienia nie skłania nas osobiste zainteresowanie. Ponieważ z oddalenia wszystko wydaje się nam pomniejszone, nie całkiem pewne, niezbyt groźne, Gilberta wolała trzymać się z dala od tych, którzy właśnie się dowiedzieli, że naprawdę była Swannówną. Należała bowiem, zwłaszcza w tamtych latach, do najbardziej rozpowszechnionego, strusiopodobnego gatunku ludzi, którzy chowają głowę w piasek nie po to, by się ukryć, ale po to, żeby nie wiedzieć, że inni na nich patrzą; to im już wystarcza, a co do reszty mogą zdać się na łaskę losu. Skoro bowiem najbliższe jest nam to, co możemy sobie wyobrazić, i skoro nietrudno wyobrazić sobie ludzi czytających gazety, Gilberta wolała, by w gazetach nazywano ją panną de Forcheville. Za to w osobistej korespondencji przez jakiś czas radziła sobie za pomocą formy pośredniej, podpisując się „G. S. Forcheville”. Hipokryzja tego podpisu w istocie przejawiała się nie tyle w wyrzuceniu z nazwiska Swanna wszystkich liter prócz inicjału, ile w poddaniu imienia Gilberty tej samej procedurze. Tak oto, skróciwszy do pierwszej litery imię, które jej wcale nie obciążało, Gilberta dawała do zrozumienia swoim przyjaciółkom, że nazwisko Swanna zostało ucięte również tylko dla skrótu. Literze „S” nadała nawet szczególną rangę: długi ozdobny ogonek oplatał się wokół „G”, można się było jednak domyślić, że to forma szczątkowa, skazana na stopniowy zanik, tak jak ogony człekokształtnych: u małych jeszcze okazałe, u ludzi już nieobecne.

Lecz mimo wszystko w jej snobizmie pozostało coś z błyskotliwych zaciekawień Swanna. Pamiętam, że tego samego popołudnia pytała panią de Guermantes, czy będzie mogła poznać pana du Lau, a kiedy księżna powiedziała jej, że choruje i nigdzie już nie bywa, Gilberta chciała dowiedzieć się, jak on wygląda, gdyż — wyjaśniła, rumieniąc się z lekka — wiele o nim słyszała. (Markiz du Lau przed ślubem Swanna należał do jego najbliższych przyjaciół, niewykluczone, że Gilberta kiedyś go widziała, ale musiało to być w czasach, kiedy nie interesowała się jeszcze tym towarzystwem).

— Czy jest kimś w rodzaju pana de Bréauté albo księcia d'Agriente? — spytała.

— Skądże! Ani trochę! — wykrzyknęła pani de Guermantes, która, będąc wrażliwa na najłżejszą różnicę odcieni, potrafiła od ręki naszkicować portret, opromieniony złocistą barwą jej niskiego głosu, łagodnym światłem fiołkowych oczu. — Ani trochę! Du Lau to był perigordzki szlachcic, uroczy, wcielenie dworności i niewymuszonej swobody, po której poznawało się wielkiego pana z jego stron. W Guermantes, kiedy bawił u nas król angielski, z którym zresztą du Lau był na stopie przyjacielskiej, po polowaniu siadaliśmy do podwieczorku; du Lau miał zwyczaj o tej porze zmieniać buty z cholewami na miękkie bambosze. Otóż nie robił sobie ceremonii z obecności króla Edwarda wraz z gromadą diuków i w tych swoich bamboszach schodził do sali rycerskiej. Uważał, że markiz du Lau d'Allemans nie musi wyrzekać się własnych zwyczajów z takiego powodu jak wizyta króla Anglii. Było ich dwóch, on i ten uroczy Quasimodo de Breteuil: lubiłam ich najbardziej ze wszystkich. Byli to zresztą serdeczni przyjaciele... (już miała powiedzieć „pani ojca”, ale zawiesiła głos w pół zdania). Nie, ani Gri-Gri, ani de Bréauté nie byli do niego podobni. To był prawdziwy wielki pan z Perigordu. Mémé lubił przytaczać pewien ustęp z Saint-Simona o którymś z markizów d'Allemans: jest tam cały on, jak żywy.

Zacytowałem kilka pierwszych zdań tego portretu: „Pan d'Allemans, pierwszy wśród szlachty Perigordu z racji urodzenia, jak również dla swoich zasług, był przez naród tamtejszy najwyższym obdarzony szacunkiem, jako sędzia spraw wszelkich, do którego każdy zwracał się w potrzebie, a to dla jego rzetelności, rozumu i dwornych obyczajów, on zasię, niczym kur między pomniejszym ptactwem całej prowincji...”

— Jest w tym sporo prawdy — wtrąciła pani de Guermantes — zważywszy że du Lau oblicze miał czerwone jak kogut.

— Tak, teraz pamiętam, ktoś kiedyś zacytował przy mnie ten opis — powiedziała Gilberta, ale nie dodała, że tym kimś był jej ojciec, wielki miłośnik Saint-Simona.

O księciu d'Agriente i panu de Bréauté Gilberta porozmawiała by chętnie z jeszcze innego powodu. Książę d'Agriente odziedziczył tytuł po swoich krewnych z domu aragońskiego, ale jego dobra ziemskie leżały w Poiteau. A zamek, ten, w którym książę mieszkał, nigdy nie należał do jego rodziny, tylko do rodziny pierwszego męża jego matki, i był mniej więcej o tyle samo oddalony od Martinville co od Guermantes. Toteż Gilberta wymieniała księcia d'Agriente i pana de Bréauté jako swych wiejskich sąsiadów, których widok przypominał jej dawną posiadłość. Jeśli chodzi o ścisłość, nie całkiem było to prawdą, bo pana de Bréauté, zresztą starego przyjaciela swojego ojca, poznała dopiero w Paryżu, przez panią Molé. Ale wzruszenie, z jakim wspominała okolice Tansonville, mogło być szczere. Snobizm jest u niektórych osób czymś takim jak owe orzeźwiający napoje, zawierające w swoim składzie różne odżywcze dodatki. Jednej z eleganckich dam Gilberta nadskakiwała w swoim czasie, interesując się jej wspaniałymi zbiorami książek i płócien Nattiera, których zapewne nie wybrałyby się obejrzeć, gdyby je wystawiono w Bibliotece Narodowej albo w Luwrze, i jestem przekonany, że powaby Tansonville nie opromieniały w jej oczach pań Sazerat i Goupil w tym samym stopniu, co i księcia d'Agriente, mimo jeszcze bliższego sąsiedztwa.

— Och, biedny ten Babal, biedny Gri-Gri — powiedziała pani de Guermantes. — Są bardziej chorzy niż du Lau, obawiam się, że żaden już nie pociągnie długo.

Pan de Guermantes skończył czytać mój artykuł i udzielił mi paru pochwał, zresztą raczej umiarkowanych. Ubolewał nieco nad szablonowością stylu, w którym dostrzegł „emfatyczne metafory naśladowujące przebrzmiałą już manierę Chateaubrianda”; ale za to gratulował mi nader wylewnie, że w ogóle czymś się zająłem.

— Lubię, kiedy ktoś potrafi pokazać, że nie ma dwóch lewych rąk. Bo próżniaków nie znoszę. Kabotyni i sensaci, durne plemię!

Gilberta, która w zawrotnym tempie przyswajała sobie obyczaje wielkiego świata, oświadczyła, że będzie dumna, mogąc pochwalić się przyjaźnią prawdziwego literata.

— Proszę sobie wyobrazić, jaka to będzie dla mnie przyjemność, jaki *zzzaszczyt*, móc powiedzieć, że pana znam.

— Nie poszedłby pan z nami jutro do Opery Komicznej? — zagadnęła księżna, ja zaś pomyślałem, że bez wątpienia trzyma jeszcze tę samą łożę, w której ujrzałem ją za pierwszym razem i która wówczas wydała mi się miejscem równie niedostępnym, jak podmorskie królestwo Nereid. Ale odpowiedziałem zgaszonym głosem:

— Nie chodzę teraz do teatru. Straciłem przyjaciółkę, którą bardzo kochałem.

Gdy to mówiłem, miałem niemalże łzy w oczach, ale jednocześnie po raz pierwszy, mówiąc o tym, odczuwałem przyjemność. I właśnie od tamtego dnia zacząłem pisać do różnych ludzi o wielkiej tragedii, jaką przeżyłem, i w tym samym czasie zacząłem już z wolna zapominać.

Po odejściu Gilberty pani de Guermantes powiedziała mi:

— Pan nie odczytał moich znaków, chodziło mi o to, żeby w ogóle nie wspominać o Swannie. — A gdy ją przeproszałem, dodała: — Ależ rozumiem pana znakomicie. Sama omal nie wymówiłam jego nazwiska, na szczęście opamiętałam się w porę. Popatrz, Błazeju, jakie to krępujące — zwróciła się do księcia. Chciała pomniejszyć moją winę, udając przeświadczoną, że uległem powszechnej skłonności, której oprzeć się nie sposób.

— Cóż mam ci na to powiedzieć? — odparł książę. — Każ zabrać te rysunki z powrotem na górę, jeśli przypominają ci Swanna. A jak nie będziesz o nim pamiętała, to nic nie palniesz.

Nazajutrz dostałem dwa listy z gratulacjami, które mnie zaskoczyły; jeden był od pani Goupil z Combray; nie widziałem jej od wielu lat, a przecież nawet w czasach Combray nie rozmawiałem z nią więcej jak trzy razy. Dostała „Le Figaro” w czytelni czasopism. Ilekroć zdarzy nam się uczynić coś, co wywoła choć trochę rozgłosu, odzywają się do nas osoby, które już ledwie pamiętamy i które opuściliśmy tak dawno, że ich głosy wydają nam się stłumione oddaleniem, lub raczej głębią otchłani, z jakiej do nas dochodzą. Jakiś zapomniany kolega szkolny, który miał już ze dwadzieścia okazji, by do nas napisać, daje nam nagle znak życia. Choć bywa i na odwrót. Na przykład Bloch, którego opinii o moim artykule byłem tak bardzo ciekawy, nie napisał mi ani słowa. Przeczytał co prawda ten artykuł, ale gdy mi to dopiero po paru latach wyjawiał, jego opinia dosięgła mnie bolesnym rykoszetem. W końcu bowiem i on zamieścił artykuł w „Le Figaro”, i wówczas uznał za stosowne niezwłocznie powiadomić mnie o tym wydarzeniu. Skoro tylko stało się jego udziałem to, co uważał za przywilej wybranych, niczym gaz po otwarciu kompresora uszła z niego zawiść, która wcześniej kazała mu udawać, że mojego tekstu nie czytał; i powiedział mi o nim zupełnie co innego, niż chciałby usłyszeć o swoim własnym: „Wiedziałem o twoim artykule, uznałem jednak, że nie powinienem ci nic mówić. Obawiałem się, że sprawiłbym ci tym przykrość. Najlepiej zmilczeć, jeśli przyjacielowi przytrafiło się coś takiego, że mógłby się poczuć upokorzony, gdyby mu o tym przypominano. Bo przecież to poniżające drukować się w gazecie spod znaku szabli i kropidla oraz five o'clocków, nie mówiąc już o wodzie święconej, którą ocieka”. Nic się nie zmienił, ale jego styl stał się mniej uroczysty; coś podobnego zdarzyło się niejednemu literatowi, gdy zarzuciwszy poemat symboliczny dla powieści w odcinkach, wyzbył się manieryzmu.

Skoro Bloch milczał, na pocieszenie jeszcze raz przeczytałem sobie list od pani Goupil; ale nie znalazłem w nim ani trochę ciepła. Jeśli bowiem zwyczajem arystokracji było rozpoczynać i kończyć formułą chłodną jak mur, między nagłówkiem „Łaskawy panie” i pożegnalnym „głębokim szacunkiem” strzeliste wykrzykniki zachwytu i podziwu rozkwitały bujnie, a ponad okalające ogród mury niosła się czarowna woń peanu. Tymczasem konwencjonalna mieszczańska zdawkowość dławiała wymowę listu ciasną pętlą zwrotów w rodzaju „ten sukces, jakże zasłużony”, lub nawet, w największym uniesieniu, „pański wspaniały sukces”. Dwie szwagierki mojego dziadka, stare panny, wierne zasadom, w jakich je wychowano i zawsze należycie ściśnięte gorsetem form, sądziły, że zdobywają się na śmiałą wylewność, gdy chciały wyrazić swój gorący entuzjazm albo szczerze współczucie przez „najserdeczniejsze pozdrowienia”. Formułka „Do życzeń przyłącza się moja matka” oznaczała już najwyższy stopień łaski, toteż nie szafowano nią zbyt hojnie. Oprócz listu od pani Goupil dostałem jeszcze jeden, podpisany nazwiskiem Sanillon, które nie było mi znane. Pismo dość pospolite, język zaś pełen wdzięku. Byłem zmartwiony, że nie zdołałem się dowiedzieć, kim jest nadawca.

Dwa dni później cieszyłem się nad ranem na myśl, że Bergotte zachwyił się moim artykułem i nie mógł go czytać bez zazdrości. Ale moja radość wkrótce zgasła. Bo przecież Bergotte nic mi o tym nie mówił. Toteż zadawałem sobie samemu pytanie, czy artykuł mu się spodobał, i przepełniały mnie obawy, że nie. Pani de Forcheville zapewniła mnie co prawda, że spodobał mu się nad wyraz, dostrzegł w nim talent najwyższej miary. Ale powiedziała mi o tym, kiedy spałem: miałem taki sen. Sny nie szczędzą środków, by



w swoich wystawnych inscenizacjach udzielić nam odpowiedzi na dręczące pytania, ale żadna z tych odpowiedzi nie jest zdolna przetrwać poranka.

O pannie de Forcheville nie mogłem zaś myśleć bez przykrości. Cóż widziałem? Córka Swanna, którą on tak gorąco pragnął wprowadzić do salonu Guermantów i której oni, mimo że mieli go kiedyś za wielkiego przyjaciela, nie pozwolili sobie przedstawić, którą zaś w końcu sami zapragnęli przyjmować, gdy upływ czasu odmienił ją w ich oczach, przelał w jej postać nową osobowość, zmieszaną z cudzych opowieści, jak to bywa, gdy nie widzieliśmy kogoś tak długo, że sami zdążyliśmy już zmienić skórę i nabrać nowych upodobań. Swann mówił czasem, obejmując ją i całując: „Jaka to radość, moje dziecko, mieć taką córkę jak ty. Jeżeli pewnego dnia, gdy mnie już nie będzie, ktoś wspomni o twoim biednym ojcu, to tylko dzięki tobie”, lecz mylił się, pokładając w swej córce tę niepewną, drżącą z niepokoju nadzieję na pośmiertne trwanie, tak samo jak myliłby się stary bankier, który zapisał swój majątek tancereczce, licząc na to, że skoro prowadziła się bez zarzutu, gdy ją utrzymywał, będąc tylko przyjacielem, to pozostanie na zawsze wierna jego pamięci. Ale tancerka, zachowując nienaganne pozory, po kryjomu porozumiewawczo trącała pod stołem przystojnych przyjaciół starego bankiera. Będzie nosiła żalobę po tym wielkodusznym człowieku i zadowolona, że się od niego uwolniła, zacznie z ochotą korzystać nie tylko z jego gotówki, ale także z nieruchomości i pojazdów, które jej zapisał; skąd tylko można, każe usunąć monogram dawnego właściciela, wprawiając ją w zażenowanie, i ciesząc się posiadaniem owych dóbr, nie uroni ani jednej łzy po swoim dobroczyńcy. Złudzenia miłości ojcowskiej są zapewne nie mniej szalone od tamtych. Dla wielu dziewcząt ojciec nie jest nikim więcej niż starcem, po którym mają dziedziczyć. Kiedy Gilberta pojawiała się w którymś z salonów, nie tylko nie można było porozmawiać z nią o ojcu, lecz wprost przeciwnie, jej obecność wyraźnie przeszkadzała takim wspominkom, nawet gdy pojawiała się już coraz rzadsza ku nim sposobność. Również wtedy, gdy powtarzano jego powiedzonka albo podziwiano przedmioty, które kiedyś ofiarował, utarło się nie wymieniać jego nazwiska. Ta zaś, po której można by się spodziewać, że zechce przynajmniej przywrócić jego imię ludzkiej pamięci, albo zgoła zapisać je w niej nieśmiertelnymi zgłoskami, zamiast tego przypieczerowała dzieło śmierci i zapomnienia.

Gilberta stanęła po stronie śmierci wobec kogoś jeszcze: wobec żyjącej we mnie Albertyny. Pod wpływem pragnienia, pod wpływem tęsknoty za szczęściem, jaką rozbudziła we mnie Gilberta w ciągu tych godzin, kiedy ją brałem za kogo innego, nawis nowego cierpienia, bolesnego niepokoju, który mnie przytłaczał niedawno, oderwał się i runął, pociągając za sobą w całości wielki maszyn wspomnień związanych z Albertyną, prawdopodobnie od dawna już zwietrzały i kruchy. Bo jeśli wspomnienia początkowo podtrzymywały we mnie żal po niej, to potem z kolei ów żal służył utrwaleniu wspomnień. Tak więc przemiana, jakiej uległ mój stan emocjonalny, szykowała się już od dawna w ukryciu. Stopniowy, choć nieustający rozpad wspomnień tworzył dla niej grunt, w końcu zaś objawiła się w sposób nagły, gwałtowny, w całej swej okazałości, tamtego dnia dając mi odczuć po raz pierwszy pustkę, jaką pozostawiło we mnie zniknięcie rozległej połaci skojarzeń — wrażenie znane zapewne tym, którzy z powodu pęknięcia jakiejś nadwątłej tętnicy w mózgu dotknięci zostali zanikiem bądź paraliżem znacznych obszarów pamięci. Nie kochałem już Albertyny. Co najwyżej w niektóre dni, przy zmianach pogody, które wyostrzają wrażliwość i stawiają nas twarzą w twarz z surową rzeczywistością, myśl o Albertynie wtrącała mnie w beznadziejny smutek. Cierpiałem wówczas z miłości, której już nie było. Tak jak cierpią ludzie, którym amputowano nogę lub rękę i którzy przy zmianach pogody odczuwają ból w utraczonej kończynie.

Gdy opuściło mnie cierpienie, a wraz z nim wszystko, co się z nim wiąże, ubyło wówczas mnie samego, jak to się często zdarza po ustąpieniu choroby, której podporządkowane było całe nasze życie. To bez wątpienia dlatego miłość nie trwa wiecznie, że wietrzeje prawda wspomnień, a życiu towarzyszy ciągła odnowa tkanek. Lecz jeśli chodzi o wspomnienia, tę ciągłą odnowę opóźniają procesy uwagi, zatrzymującej się jeszcze na chwilę przy tym, co musi ulec przemianom. A ponieważ smutek, tak samo jak żądza, nasila się, gdy nie przestajemy o nim myśleć; jeśli nasz czas jest wypełniony obowiązkami, łatwiej nam nie tylko trwać w czystości — także zapominać.

Ale tymczasem to właśnie chwila roztargnionej bez troski, gdy oderwałem się od własnych myśli i zapragnąłem panny d'Époucheville, zwiędziała proces zapominania i uzmysłowiła mi go zarazem; jest rzeczą pewną, że jeśli czas przynosi zapomnienie, to i fakt zapominania ze swej strony w jakiś sposób kształtuje nasze poczucie czasu. Złudzenia optyczne mogą dotyczyć czasu równie dobrze, jak przestrzeni. Przez swoje niezmiennie trwanie mój dawny zamiar rzucenia się w wir pracy, by nadrobić stracony czas, mój pomysł by zmienić sposób życia, lub raczej po prostu zacząć wreszcie żyć, mamił mnie złudzeniem, że nie przybywa mi lat. Z drugiej strony, za sprawą zdarzeń, jakie przed śmiercią Albertyny rozegrały się w moim życiu, a zwłaszcza w moim sercu — bo zmieniając się, tym mocniejsze odnosimy wrażenie, że to wszystko trwa bardzo długo — ulegałem złudzeniu, że owe tygodnie musiały ciągnąć się przynajmniej przez rok. A kiedy tak wiele rzeczy zniknęło naraz z mojej pamięci, obszary pustki oddzieliły mnie od zdarzeń całkiem niedawnych, które już zdawały się należeć do zamierzchłej przeszłości, ponieważ, jak to mówią, „miałem czas” zapomnieć. I gdy zapomnienie gęstniało niczym mgła nad oceanem, zasnuwając wszelkie punkty orientacyjne — w samym środku mojej pamięci następowały przesunięcia, zniekształcenia, rozwarstwienia, i zakłócały moje wewnętrzne odczucie czasu, skracając lub rozciągając różne jego odcinki; często wydawało mi się, że od jakiegoś punktu w czasie jestem o wiele mniej oddalony, albo też o wiele bardziej, niż byłem w rzeczywistości. Jeśli zaś jeszcze nie przebyte przestrzenie, które rozpościerały się przede mną, wolne były od wszelkich śladów mojej miłości do Albertyny, dlatego tylko, że jej już tam nie było, tak samo jak w rejonach minionego czasu, które przemierzyłem świeżo, nie było już śladów mojej miłości do babki, to dodać należy, że spośród kolejnych epok, następujących jedna po drugiej, żadna nie przechowała tego, czym żyłem w poprzedniej, i moje życie okazywało się czymś do tego stopnia wyzutym z jakiegokolwiek stałości opartej na trwałym, niezmiennym ja, czymś równie bezcelowym w przyszłości, jak w przeszłości nużącym, że śmierć mogłaby je przeciąć w dowolnym, przypadkowym miejscu, bez żadnej konkluzji, tak jak kurs historii Francji w ostatniej klasie urywa się, zależnie od treści podręczników i fantazji nauczycieli, na rewolucji roku 1830, na tej z roku 1848, albo na upadku Drugiego Cesarstwa.

Być może więc przyczyną znużenia i smutku, jaki mnie wtedy ogarnął, nie było to, że czas zniweczył moje uczucia, że ona umarła i że zapomniałem, lecz raczej co innego: że zaczęło mi odpowiadać towarzystwo żyjących, nowych znajomych bywałych w świecie, którzy sami w sobie byli tak mało ciekawi — krótko mówiąc, towarzystwo gości księstwa de Guermantes. Łatwiej jednak było mi pogodzić się z tym, że kobieta, którą kochałem, w krótkim czasie stała się bladym wspomnieniem, niż odnaleźć w sobie ową pustą gotowość do obsadzania całej dostępnej przestrzeni gąszczem ludzkiej flory, bardzo żywotnej, lecz pasożytniczej, okazami, które, już teraz obce temu wszystkiemu, cośmy kiedyś cenili, po śmierci obrócają się w nicość zupełną, a które mimo wszystko usiłuje sobie zjednać nasza rozmowna, melancholijna, skazana na uwiad kokieteria. Nowa istota, zdolna znieść życie bez Albertyny, wykluła się we mnie w chwili, gdy mówiłem pani de Guermantes o tej śmierci słowami pełnymi smutku, nie czując już bólu w głębi serca. Tej gromady nowo przybyłych ja, które właściwie nie powinny już występować pod moim nazwiskiem, bałem się zawczasu, wiedziałem bowiem o ich przerażającej obojętności wobec tych, których kochałem. Podobnego lęku doznałem dawno temu, w czasach mojej miłości do Gilberty, kiedy usłyszałem od jej ojca, że gdybym zamieszkał w Oceanii, nie chciałbym wcale stamtąd wracać. To samo poczułem całkiem niedawno; ścisnęło mi się serce, gdy w pamiętnikach pewnego drugorzędnego pisarza przeczytałem o kobiecie, do której pałał uczuciem za młodu, lecz życie ich rozdzieliło: gdy spotkał ją znów jako starzec, to już bez cienia przyjemności, wcale nie pragnąc jej widzieć. Ale wbrew moim obawom owa budząca lęk nowo przybyła istota wraz z zaćmieniem pamięci przyniosła mi ukojenie wszelkich cierpień, jej dobroczynny wpływ przywracał mi równowagę, nie była ona bowiem nikim innym, jak tylko jednym z tych zamiennych ja, które los trzyma dla nas w odwodzie, by nie zważając na nasze błagania, w stosownym momencie dokonać operacji — niczym chirurg, któremu wiedza i doświadczenie daje prawo do bezwzględności, gdy trzeba usunąć i zastąpić nasze ja nazbyt już poranione. Operacji takich dokonuje on zresztą co jakiś czas, w miarę zużywania się tkanki, lecz my zauważamy zmianę tyl-

ko wówczas, jeśli usunięte ja cierpiało ból, jątrzący jak ucisk obcego ciała, którego nagłe zniknięcie wprawia nas w zdumienie; z zachwytem spostrzegamy, że oto staliśmy się kimś innym, kimś, komu wcześniejszy ból jest już całkiem obcy, toteż możemy o nim mówić z politowaniem, bo wcale go nie znamy. Nic nas już nie obchodzą największe nawet cierpienia, przez jakie musieliśmy przejść, bo czas, w którym cierpieliśmy, pamiętamy jak przez mgłę. Jeśli nawet w nocy prześladowają nas złe sny, po przebudzeniu stajemy się nową osobą, na której nie robi to wrażenia, że ktoś; kto w nocy znalazł się na jej miejscu, ledwie uszedł z życiem z rąk siepaczy.

Nasze nowe ja jeszcze przez pewien czas utrzymuje kontakty z poprzednim, lecz tylko jako przyjaciel domu, obojętny wobec nieszczęścia — umiejący jednak, ze stosownym wyrazem smutku na twarzy, witać przybyłych gości; od czasu do czasu wraca na chwilę do sypialni, skąd przez cały czas dolatuje szloch wdowca, w którego imieniu ów przyjaciel zgodził się przyjmować kondolencje. I ja także wybuchałem szlochem, na chwilę stając się znowu tym kimś, kto kochał Albertynę. Prędzej czy później miałem się jednak do reszty przeistoczyć w nową postać. To nie z powodu śmierci bliskich osób słabną nasze dla nich uczucia, dzieje się tak dlatego, że w nas samych coś umiera. Albertyna nie miałaby nic do zarzucenia swojemu przyjacielowi. Ten, kto się teraz posługiwał jego nazwiskiem, był jedynie sukcesorem. Nie sposób pozostać wiernym temu, kogo się nawet nie pamięta, pamiętać zaś możemy tych tylko, których znaliśmy osobiście. Moje nowe ja, dorastając w cieniu ja poprzedniego, często słyszało od niego o Albertynie. Wydawało mu się, że poznało ją w ten pośredni sposób, w skupieniu chłonąc szczegóły opowieści, i polubiło Albertynę, a nawet pokochało. Lecz była to miłość z drugiej ręki.

Był ktoś jeszcze, kto pozwolił równie wartko się toczyć procesom pogrążania się Albertyny w niepamięć, czym dał mi odczuć, że także we mnie poczyniły one nowe postępy i że weszły w swe przedostatnie stadium, poprzedzające ostateczne zapomnienie. Osobą tą była Anna. Zapomnienie uznać należy jeśli nie za przyczynę wyłączną i główną, to przynajmniej za warunek konieczny wymiany zdań, do jakiej doszło między nami mniej więcej w sześć miesięcy po tamtym pierwszym spotkaniu, o którym już przedtem wspominałem — bo tylko procesami zapomnienia można wytłumaczyć jej przebieg. Za drugim razem Anna mówiła mi zupełnie co innego niż za pierwszym. Pamiętam, że działo się to w moim pokoju, bo podczas tego spotkania cieszyłem się jej zmysłową bliskością, będącą jakimś dalekim echem mojej miłości podzielonej początkowo między wszystkie dziewczęta z „bandy”, miłości przez długi czas niezdolnej dokonać wyboru, która potem z nagłą przylgnęła do Albertyny, by pozostać przy niej w ciągu kilku miesięcy poprzedzających jej śmierć i jeszcze kilku kolejnych.

Jest i inna okoliczność, dzięki której wiem to na pewno, że rozmawialiśmy w moim pokoju. Otóż musiałem wycofać się z dalszych części mieszkania, bo mama miała właśnie swój dzień wizyt. Wahała się, czy pójść przedtem do pani Sazerat. Ale pani Sazerat jeszcze w Combray umiała zawsze tak to urządzić, że spotykało się u niej samych nieciekawych ludzi, toteż mama wiedziała, że nie będzie się tam dobrze bawić, i uznała, że nic złego się nie stanie, jeśli wyjdzie wcześniej. I w samej rzeczy wróciła do domu na czas, bo pani Sazerat jak zwykle miała u siebie ludzi śmiertelnie nudnych, a w dodatku mroziła ich samym swym głosem, który przybierała specjalnie przy okazji przyjmowania gości i który mama nazwała jej środowym tonem. Moja matka ją zresztą lubiła i współczuła z powodu ubóstwa — było ono skutkiem wybrków jej ojca, który zrujnował się dla księżnej d'Havré — ubóstwa, które zmuszało ją do życia w Combray przez cały rok, jeśli nie liczyć kilku tygodni spędzanych u kuzynki w Paryżu oraz wielkiej podróży „dla rozrywki”, na którą pozwalała sobie raz na dziesięć lat.

Pamiętam też, że poprzedniego dnia, ulegając namowom, jakie ponawiałem od miesięcy ze względu na księżną Parmy, która przy każdej okazji powtarzała, że pragnie poznać moją matkę, mama poszła do niej z wizytą. Księżna nigdzie nie bywała, u niej zaś wystarczało zazwyczaj wpisać się do książki, ale tym razem upierała się, by matka ją odwiedziła, skoro etykieta nie pozwalała księżnej na wizytę u nas. Matka wróciła bardzo niezadowolona.

— Przez ciebie popełniłam straszłą gafę — powiedziała mi. — Księżna Parmy nawet na mnie nie spojrzała przy powitaniu, zajęta rozmową z jakimiś paniami. W ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. A skoro przez dziesięć minut ani razu się do mnie nie odezwała,

poszłam sobie; nawet nie podała mi ręki na pożegnanie. Zgnębiło mnie to wszystko. Ale kiedy wychodziłam, na dole natknęłam się na księżnę de Guermites, która zachowywała się ujmująco i dużo mówiła o tobie. Co też ci strzeliło do głowy, żeby jej opowiadać o Albertynie? Powtórzyła mi, co jej wyznałeś: że ta śmierć napęłniła cię wielkim smutkiem. (Rzeczywiście wyznałem, a później wyleciało mi to z głowy, bo nie przywiązywałem wagi do tych zwierzeń. Ale nawet najbardziej roztargnione osoby potrafią czasem z nieoczekiwaną wnikliwością rozważać słowa, które wymknęły nam się przypadkiem, które nam się nie wydawały godne uwagi, w nich zaś do głębi poruszyły żądzę wiedzy). — Nie pójdę więcej do księżnej Parmy. Posłuchałam twojej namowy i zrobiłam głupstwo.

A nazajutrz, gdy moja matka przyjmowała wizyty, odwiedziła mnie Anna. Nie miała wiele czasu, bo chciała koniecznie zdążyć na obiad z Gizelą.

— Wiem, że ma wiele wad, ale to jednak moja najbliższa przyjaciółka i jestem do niej bardzo przywiązana — tak mi powiedziała. Odniosłem wrażenie, że obawiała się, żebym nie zechciał się do nich przyłączyć. Była bowiem bardzo zaborcza, a obecność osoby trzeciej, kogoś takiego jak ja, przeszkodziłaby dać upust zachciankom, mogłaby popsuć zabawę.

Kiedy nadeszła, nie było mnie jeszcze w domu; poczekała na mnie. Żeby się z nią przywitać, musiałem minąć mały salonik. Usłyszałem stamtąd jakiś głos i zorientowałem się, że przyszedł do mnie ktoś jeszcze. Spieszyłem się do Anny, którą wprowadzono tymczasem do mojego pokoju. Nie miałem pojęcia, kim jest ten drugi gość, najwyraźniej nie znający Anny, skoro wskazano mu inne pomieszczenie. Mijając drzwi saloniku, nasłuchiwałem przez chwilę. Mój gość przemawiał, więc nie był sam. Zwracał się do kobiety:

— O, moja miła, tu w moim sercu... — zanucił wiersz Armanda Silvestre. — Tak, na zawsze pozostaniesz w moim sercu, cokolwiek złego mnie od ciebie spotkało:

Zmarli legli na wieki w ciemnym ziemi łonie.  
Niechże spoczną wraz z nimi wystygłe miłości.  
Relikwie serc przysypie mialki pył wieczności;  
Nikt na te szczątki święte nie podniesie dłoni.

Trochę niedzisiejsze, ale jakże ładne! A to mógłbym ci powiedzieć już pierwszego dnia naszej znajomości:

To przez ciebie, urocze, piękne dziecię moje...

Naprawdę nie znasz tego?

... zaplaczą kiedyś malcy, ci przyszli mężczyźni.  
Już rozsnuwają mgiełkę swych młodzieńczych rojeń  
Na delikatnych rzęsach oczu twoich czystych.

Ach! Sam sobie mógłbym w kółko to powtarzać:

Raz tylko spojrział i o czci  
Spiesznie zapomnieć przyszło mi.  
Szeptalam, że mnie będzie miał,  
Póki miłować będzie chciał.  
Przy nim najsłodsze śniłam sny.

Choćbym miał przez to opóźnić niecierpiące zwłoki spotkanie z Anną, ciekawość kazała mi przede wszystkim dowiedzieć się, ku jakiej to kobiecie płynął ów wezbrany potok poezji, uchyliłem więc drzwi. Okazało się, że to pan de Charlus deklamował wiersze jakiegoś żołnierza. Rozpoznałem go po chwili, był to Morel: wyjeżdżał właśnie na ćwiczenia. Z panem de Charlus nie był już w tak bliskiej jak niegdyś zażyłości, ale przypominał mu się od czasu do czasu, kiedy czegoś potrzebował. Widocznie nawet pan

de Charlus, który zwykł nadawać uczuciom formę raczej męską, miał swoje chwile słabości. Zresztą już od dzieciństwa wiersze przemawiały do niego wtedy jedynie, kiedy wyobraził sobie, że zamiast jakiejś pięknej i niewiernej kobiety, przedmiotem swym czynią młodzieńca. Pożegnałem ich tak prędko, jak tylko mogłem, choć czułem, że wizyty składane w towarzystwie Morela przynoszą baronowi największe zadowolenia, pozwalając mu poczuć się tak, jakby ożenił się powtórnie. W taki to sposób władcza próżność królowych spotykała się w nim z próżnością sługi.

Wspomnienie Albertyny w owym czasie uległo już we mnie rozpadowi tak dalece, że nie budziło nawet smutku, było teraz jak brama wiodąca ku przyszłym pragnieniom, jak akord otwierający przejście do nowej tonacji. I nawet pominąwszy sferę zmysłów, ulegających przelotnym kaprysom, to wszystko, co dotąd jeszcze pamiętało we mnie o Albertynie, bardziej niż jej cudownego powrotu pragnęło obecności Anny. Od Anny bowiem mogłem dowiedzieć się o Albertynie tego, czego sama Albertyna nie wyznała mi nigdy. Pytania związane z Albertyną wciąż jeszcze nurtowały mój umysł, choć moja tkliwość, tak samo jak pożądanie, wygasła dawno temu. Ciekawość jej życia opuszczała mnie najbardziej opieszale, toteż wzięła w końcu górę nad tęsknotą. Z drugiej strony, na myśl o innej kobiecie, będącej może w cielesnym związku z Albertyną, już tylko pożądałem tamtej. Powiedziałem o tym Annie, gdy ją pieściłem. I wówczas Anna, nie dbając o zachowanie pozorów wiarygodności własnych słów sprzed paru miesięcy, odpowiedziała z półśmiechem:

— Ale cóż, ty jesteś mężczyzną. Więc nie mogę z tobą robić tego samego, co z Albertyną. — I po to może, by rozpaść we mnie żądzę (bo licząc na zwierzenia, powiedziałem jej, że chciałbym mieć kobietę, która utrzymywała z Albertyną takie stosunki), czy raczej po to, żeby mnie strącić w otchłań smutku, albo też odebrać mi poczucie wyższości, jakie jej zdaniem mogłem budować na przekonaniu, że Albertyna nie miała innych kochanków, dodała: — Ależ tak! Spędziłyśmy razem wiele cudownych chwil, była taka czuła, taka namiętna! Od zawsze zresztą uganiała się za przyjemnościami. Poznała u pani Verdurin pewnego ładnego chłopca, nazywał się Morel. W lot się porozumieli. On zajął się uwodzeniem córek rybaków z odległej plaży i młodych praczek, które mogły łatwo zakochać się w chłopcu, ale na umizgi dziewczyny odpowiadałyby wzruszeniem ramion (musiała za to dać mu swobodę zabawiania się z nimi do woli, bo lubił sprowadzać na złą drogę nieświadome dziewczątka i porzucać je czym prędzej). Każdą, która mu uległa, prowadził na umówione miejsce i oddawał Albertynie. One z obawy, żeby nie stracić owego Morela, który zresztą brał udział w dalszej zabawie, zgadzały się na wszystko. Lecz i tak je porzucał, znudzony się każdą po jednym czy dwóch spotkaniach, i ulatniał się, zostawiając fałszywy adres. Mieli czelność razem zaciągnąć którąś z nich do prostytutek w Couliville, by patrzeć, jak we cztery, a może w pięć, brały ją równocześnie czy też po kolei. Te zabawy to była wielka pasja tego Morela, tak samo zresztą, jak Albertyny. Tyle że ją sumienie dręczyło potem okropnie. Myślę, że póki mieszkała u ciebie, tłumiała swoje żądze i odsuwała ich nasycenie na przyszłość. Bo przywiązała się do ciebie naprawdę, stąd brało się w niej poczucie winy. Ale było rzeczą pewną, że jeśli cię opuści, wszystko zacznie się od początku. Wyobrażam sobie, że ledwie stąd wyjechała, rzuciła się w piekło największych namiętności, a potem dosięgły ją tym straszniejsze udręki sumienia. Liczyła przecież na to, że ją ocalisz przez małżeństwo. W głębi duszy czuła, że grzęźnie w jakimś zbrodniczym szaleństwie, i nieraz zadawałam sobie pytanie, czy nie szukała śmierci właśnie z tego powodu, bo znałam rodzinę, w której w podobnych okolicznościach doszło do samobójstwa. Muszę ci wyznać, że kiedy u ciebie zamieszkała, nie od razu poniechała tych naszych zabaw. Bywały takie dni, kiedy zdawała się jakoś szczególnie ich potrzebować, do tego stopnia, że pewnego razu nie dała mi spokoju, póki się przy niej nie położyłam, choć mogłyśmy bez trudu znaleźć lepsze miejsce gdzie indziej. Gdyby szczęście nam nie sprzyjało, wpadłybyśmy jak nic. Skorzystała z tego, że Franciszka wyszła akurat po sprawunki, a ty jeszcze nie wróciłeś. Zgasła nawet wszystkie światła, żebyś wszedłszy zniemacka, musiał najpierw poszukać wyłącznika, a drzwi swojego pokoju zostawiła uchylone. Słyszałyśmy twoje kroki na schodach. Ledwie zdążyłam zerwać się i poprawić garderobę. Ten pośpiech okazał się zresztą niepotrzebny, bo akurat przypadkiem nie miałeś przy sobie klucza i musiałeś zadzwonić do drzwi. Ale i tak potraciliśmy głowy. I żeby ukryć zmieszanie, nie umawiając się, wpadłyśmy obie na ten

sam pomyśl: udawać, że drażni nas zapach tureckiego bzu, który, na odwrót, lubiliśmy bardzo. Przyniosłeś wtedy dorodną gałązkę, skorzystałam więc z pretekstu, by odwrócić głowę i ukryć zmieszanie. Mimo to plątałam się w niedorzecznych tłumaczeniach, jakobyśmy sądziły, że Franciszka już jest w domu z powrotem, więc może ci otworzyć, choć chwilę przedtem skłamałam, że dopiero wróciliśmy ze spaceru i widziałyśmy Franciszkę na wychodnym (tylko to ostatnie było prawdą). Na swoje nieszczęście — myśląc, że masz przy sobie klucz — pogasiliśmy światła i obawialiśmy się, żebyś wchodząc, nie zobaczył, jak je zapalamy. Z otwarciem drzwi zwlekaliśmy za długo. I Albertyna potem przez trzy noce nie zmrzyła oka ze strachu, żebyś w przyływie podejrzliwości nie zaczął wypytywać Franciszki, dlaczego pogasiła światła. Bo Albertyna żyła w strachu. Zapewniała mnie, że jesteś człowiekiem podstępny i trudny, a w duchu nią pogardzasz. Dopiero po trzech dniach, widząc twój spokój, upewniła się, że nie wpadło ci do głowy pytać o nic Franciszki, i odtąd już znowu dobrze spała. Ale nie podjęła więcej ze mną tych stosunków, może z obawy, a może z poczucia winy; bo zawsze twierdziła, że cię kocha, jeśli nawet kochała kogo innego. W każdym razie nie można było wspomnieć przy niej o bzach, bo zaraz oblewała się pąsem i chowała twarz w dłoniach, żeby ukryć rumieniec.

Tak jak szczęście, które przyszło za późno, również nieszczęścia niekiedy nie osiągną rozmiarów, do jakich urosłyby, gdyby zdążyły osiągnąć nas wcześniej. Do takich należało nieszczęście, przyczajone w mroźnych krew opowieściach Anny. Gdy bowiem nadciągają złe wieści, może się zdarzyć, że wobec otaczającej nas atmosfery beztroski, wobec lekkiego tonu dowcipnej rozmowy, katastrofa przechodzi bokiem, my bowiem, zajęci mnóstwem konceptów, które cisną się nam na usta, przeistoczeni w kogo innego żądzą podobania się, i w tym naszym nowym, krótkotrwałym wcieleniu osłonięci przed bolesnymi uczuciami, któreśmy porzucili i do których przyjdzie nam powrócić, ledwie czar pryśnie — nie mamy kiedy poddać się rozpacz. Jeśli jednak cierpienie i ból przeważą szalę, pozostaniemy im wierni; będziemy się błąkać po świecie chwilowej, ulotnej radości, roztargnieni i nieobecni, niezdolni nawet na moment stać się kim innym, bo każde słowo trafiać będzie prosto w serce, ono zaś nie może wyłączyć się z gry. Lecz jednak od pewnego czasu wszelkie słowa związane z Albertyną traciły swą moc, niczym zwierzała trucizna. Oddalenie było już zbyt wielkie. Jak ktoś, kto zażywając popołudniowej przechadzki, ujrzał na niebie błady rogalik i zapytuje sam siebie, czy to ma być ten ogromny księżyc, mówiłem sobie: „Jakże to? Więc taka jest ta prawda, za którą się uganiałem, przed którą drżałem? Tych kilka słów, rzuconych w ferworze rozmowy, nad którymi nie mogę się nawet spokojnie zastanowić, póki nie będę sam?” I w dodatku rewelacja owa zastała mnie zupełnie nieprzygotowanego, kiedy już byłem wyczerpany rozmową. Zaliste, prawda takiej wagi! Żałowałem, że nie mam już dla niej nawet resztki sił. Pozostała za progiem, bo nie od razu znalazło się na nią miejsce w moim sercu. Oczekujemy, że prawda zostanie nam objawiona znakami na niebie, jakich dotąd świat nie widział, nie zaś zdaniem zbudowanym ze zwykłych słów, wytartych już od zużycia. Nawyk myślenia często uniemożliwia nam doświadczanie rzeczywistości, uodpornia nas na nią i sprawia, że widzimy w niej tylko dalszy ciąg własnych myśli. W każdym pojęciu zawarte jest jego przeciwieństwo, w każdym słowie jego zaprzeczenie.

Tak czy inaczej, jeśli nawet wszystko to było prawdą, daremna wiedza o nieżyjącej już ukochanej wypłynęła z jakichś czeluści wtedy dopiero, kiedy nie mogłem już zrobić z niej żadnego użytku. W takich chwilach wpadamy w rozpacz (myśląc zapewne o tym, że ze strony innej kobiety, którą właśnie teraz kochamy, mogłoby nas spotkać coś podobnego; o tamtą bowiem, której już nie ma, nie troszczymy się zbyt). Mówimy sobie: „Gdybyż ona mogła za życia pojąć, co czyni, gdybyż wiedziała, że po jej śmierci nic się przede mną nie ukryje!” Tak oto wygląda błędne koło. Gdyby dało się zapobiec śmierci Albertyny, to i rewelacje Anny nie mogłyby do mnie dotrzeć. To trochę tak, albo nawet zupełnie tak samo jak z ową nieśmiertelną pogroźką: „Zrozumiesz, kiedy przestanę cię kochać”, tyleż prawdziwą, co niedorzeczną, bo na tym, co zyskalibyśmy, odbierając kobiecie naszą miłość, z miejsca przestałoby nam zależeć. Jeśli bowiem spotkamy kobietę, której już nie kochamy, i ona wyzna nam całą prawdę, będzie to oznaczać, że stała się kimś innym albo że my nie jesteśmy już sobą: ten, kto kochał, już nie istnieje. To także jest znak śmierci: przeszła i tędy, czyniąc wszystko łatwym i jałowym. Snułem te myśli, zakładając, że Anna mówiła prawdę — co było całkiem możliwe — i że do szczerości skłoniło ją, ze względu na

naszą obecną bliskość, to, co w niej było z ducha św. Andrzeja Polnego i co wyczuwałem także w Albertynie na początku naszej znajomości. Zachęcić ją mogło i to, że nie musiały już się obawiać Albertyny. Umarli pozostają bowiem dla nas postaciami rzeczywistymi jeszcze tylko przez krótki czas, a po paru latach są niczym bóstwa opuszczonej świątyni, którym można bluźnić bez obawy, skoro zabrakło czcicieli. Ale utrata wiary w realność istnienia Albertyny mogła pociągnąć za sobą (oprócz gotowości do zdradzenia tajemnic, których Anna być może obiecała dochować) równie dobrze śmiałe kłamstwo, tak pomyślane, by oczernić rzekomą współwinowajczynię. Czy, uwolniona od lęku, odważyła się wyjawić mi prawdę, czy może raczej podsunęła mi kłamstwo, jeśli na przykład z jakiejś przyczyny uznała, że jestem zbyt wyniosły, za bardzo zadowolony, i dla wyrównania rachunków postanowiła zadać mi ból? A może miała mi za złe moje pożycie z Albertyną (i tłumiała w sobie te uczucia, póki widziała mnie załamanego, w rozpacz), lub sądząc, że z tego powodu czuję się bardziej od niej uprzywilejowany, pozazdrościła mi łask, których nie dostąpiła, albo nawet i nie pragnęła. Wiedziałem, że zdarzało jej się użalić nad kimś, kto źle wygląda, a kto w rzeczywistości wyglądał kwitnąco i tym jej właśnie dokuczył, lub by wyrazić się ściślej, dokuczył jej, obnosząc się ze swoim zdrowiem i urodą. Na złość innym utrzymywała, że sama miewa się wyśmienicie, i obstawała przy tym z uporem nawet w najcięższym okresie swej choroby — aż po dzień, kiedy w obliczu śmierci w ogóle przestała się przejmować innymi, choćby widziała, jak cieszą się życiem, radośni, gdy ona umiera. Ale ten dzień był jeszcze bardzo odległy. Może gniewała się na mnie z jakiejś nieodgadnionej przyczyny, jak kiedyś na tego młodego człowieka, którego poznaliśmy w Balbec, a który tak dobrze znał się na sportach i na niczym więcej. Zadał się potem z Rachelą, Anna zaś rozsiewała na jego temat oszczercze pogłoski, zmierzając do celu, którym było ściągnąć na siebie proces o zniesławienie; chciała w to wplątać nawet jego ojca, oskarżając o czyny haniebne w taki sposób, by nie mógł dowieść swojej niewinności. Wiedziałem jednak, że jej nagle napady złości na mnie znajdowały burzliwe ujście, po czym następowało uspokojenie, zwłaszcza jeśli widziała, że i tak jestem przybity. Kiedy Anna zionęła na swych wrogów ogniem nienawiści, to chciała ich odrzec z czci, zmieść z powierzchni ziemi, wtrącić do więzienia, posuwając się choćby do fałszywych oskarżeń. Lecz wystarczyło jej ujrzeć nieprzyjaciela zdruzgotanym i upokorzonym, by otworzyło się w niej współczucie, i już gotowa była obsypywać ofiarę dobrodziejstwami. Nie była bowiem z gruntu zła, a jeśli w jej głębszej, niewidocznej naturze, zamiast dobroci serca, jakiej, sądząc z pozorów życzliwej troskliwości, można się było spodziewać, leżała raczej pycha i zawiść, to przecież pod spodem kryła się w niej trzecia natura, ta najprawdziwsza, nigdy do końca nie urzeczywistniona, skłaniająca się ku miłości bliźniego. Jak wszystkie istoty, pragnące wznieść się ponad to, czym żyją, ale nie znające innych stanów, oglądanych co najwyżej w marzeniach — nie mogła pojąć, iż pierwszym warunkiem wyzwolenia jest zerwać z tym, co było dotąd treścią jej życia. Neurastenicy i morfiniści naprawdę chcą zostać uleczeni, ale w taki sposób, by nie musieli się wyrzec swojej manii albo narkotyku; ludzie głęboko przejęci sprawami religii, lecz trzymający się kurczowo światowego życia, tęsknią do samotności, nie widząc, że całkowicie wyklucza ona ich dotychczasową egzystencję; tak też Anna gotowa była kochać wszystkich swych bliźnich, jeśli tylko zdoła ich zawczasu upokorzyć i pognać na tyle, by nigdy nie zobaczyć w ich oczach triumfalnego błysku. Nie umiała kochać ludzi, póki była w nich duma; nie wiedziała, że łatwiej miłością rozbroić czyjąś pychę, niż zmiażdżyć ją pychą jeszcze potężniejszą. Była jak pacjent, oczekujący, że uzdrowią go te same środki, które podtrzymują w nim chorobę, lubi je bowiem ponad wszystko, choć przestałby lubić, gdyby zdołał raz je porzucić. Nie można nauczyć się pływać, stojąc jedną nogą na suchym lądzie.

W związku zaś z młodym amatorem sportów, siostrzeńcem pani Verdurin, którego spotykałem przez dwa letnie sezony w Balbec, wypada uprzedzić fakty i nawiasem wspomnieć, że w jakiś czas po owej wizycie, o której za chwilę podejmiemy opowieść, miały miejsce zdarzenia zgoła nieoczekiwane. Po pierwsze chłopak ten, być może przez pamięć Albertyny, w której się kochał, o czym wówczas nie wiedziałem, zaręczył się z Anną i poślubił ją (w kilka miesięcy po wizycie, o której mowa), nic sobie nie robiąc z rozpacz Racheli. I oto Anna nigdy więcej nie nazwała go nicponiem, ja zaś pojąłem, że od początku mówiła o nim źle dlatego jedynie, że za nim szalała i że się czuła przez niego odrzucona. Ale zdarzyło się coś jeszcze bardziej nieoczekiwane. Ten młody człowiek

wystawił we własnych dekoracjach i kostiumach kilka humoresek, które doprowadziły do przewrotu we współczesnej sztuce scenicznej, równie radykalnego, jak ten wywołany przez rosyjski balet. Krótko mówiąc, najpoważniejsi krytycy uznali jego przedstawienia za dzieła wiekopomne i genialne, a ja podzielałam dziś ten pogląd, przychyłając się, ku własnemu zaskoczeniu, do wcześniejszej opinii Racheli. Jeśli ktoś pamiętał go z Balbec, gdzie interesowało go to jedynie, czy garderoba osób, które spotyka, jest na odpowiednim poziomie, gdzie wszystek swój czas poświęcał bakaratowi, wyścigom konnym oraz grze w golfa i polo, jeśli ktoś wiedział, że jako uczeń uchodził on za skończonego osła, a nawet został wyrzucony ze szkoły (po czym na złość rodzicom przez dwa miesiące nie opuszczał pewnego domu publicznego, tego samego, w którym pan de Charlus urządził zasadzkę na Morela), ten ktoś mógł przypuszczać, że owe przedstawienia stworzyła Anna, z miłości wyrzekając się sławy, albo też — w co jeszcze łatwiej uwierzyć — że wynajął i opłacił, dzięki swojej fortunie, nieznacznie tylko nadszarpniętej szaleństwami, jakiegoś genialnego twórcę przymierającego głodem. (Dla ludzi zamożnych, ale bez ogłady, jaką przynosi kontakt z arystokracją, nie mających pojęcia o sztuce, artysta jest tylko komediantem sprowadzonym na zaręczyny córki, by wygłosił parę monologów, po czym dyskretnie i bez zwłoki wypłaca mu się należność w sąsiednim pokoju; albo malarzyną, u którego zamówią jej portret zaraz po ślubie, nim zaczną rodzić dzieci i póki jeszcze wygląda korzystnie; toteż łatwo mogą sobie wyobrazić, że w wielkim świecie każdy, kto pisze, komponuje albo maluje obrazy, po prostu zamawia je dla sławy i płaci, tak samo jak inny sygnie groszem, by zdobyć fotel deputowanego). Otóż były to oszczerstwa; ów młody człowiek naprawdę stworzył arcydzieła. Kiedy się o tym dowiedziałem, musiałem rozważyć sprzeczne domysły. Albo przez te wszystkie lata w istocie było z niego głupie bydlę, na jakie wyglądał, i dopiero jakaś fizjologiczna eksplozja obudziła drzemającego w nim, niczym śpiąca królowna, geniusza, albo też przeciwnie, w burzliwych czasach szkolnych i potem, gdy obciąwszy się na maturze, przegrywał w kasynie grube pieniądze i unikał jazdy kolejką razem z „wiernymi” swojej ciotki Verdurin, którymi pogardzał ze względu na ich stroje — był już człowiekiem genialnym, może pragnącym wyprzeć się własnego geniuszu; zawiesił talent na kolku, by swoje siły poświęcić bez reszty wybrykom młodości. Albo też, od początku świadomy swych talentów, ostatnią w klasie lokatę zawdzięczał temu tylko, że kiedy nauczyciel plótł banały o Cyceronie, on wolał czytać pod ławką Rimbauda lub Goethego. Co prawda, nic na to nie wskazywało w Balbec, gdzie sprawiał wrażenie człowieka, którego wszelkie zainteresowania zaczynają się i kończą na ocenie zaprzęgów, na przepisach mieszania cocktaili. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Mógł być po prostu próżny, co nieraz idzie w parze z geniuszem: wiedział, co świat podziwia i tym właśnie chciał zabłysnąć; obracał się bowiem w środowisku, w którym nikt nie ceni głębi interpretacji *Powinowactw z wyboru*, a uznanie przypada temu, kto posiadał umiejętność powożenia czwórki. Wątpię zresztą, czy później, kiedy już był autorem tych pięknych i oryginalnych utworów, stał się bardziej skłonny utrzymywać znajomości — poza teatrami, gdzie wszyscy i tak go znali — z ludźmi takimi jak niegdyś „wierni” jego ciotki, w swych ówczesnych wcieleniach nie uznający smokingu. Zresztą wcale nie świadczyło to o jego głupocie, tylko raczej o próżności, połączonej nawet z pewnym zmysłem praktycznym i niezłą znajomością życia, dzięki której mógł swój snobizm przykroić na miarę głupców; zabiegając o ich szacunek, wiedział, że smokiny przysparza mu więcej blasku w ich oczach niż głębia spojrzenia. Któż wie, ilu ludzi wielkiego talentu, lub nawet talentu pozbawionych, lecz żyjących sprawami ducha — jak choćby ja sam — wydałoby się nieznajomemu, patrzącemu na nich w Rivebelle, w hotelu w Balbec albo na promenadzie, stuprocentowymi i pretensjonalnymi durniami? Nie mówiąc już o tym, że dla owego Oktawa sprawy sztuki musiały być czymś tak bardzo intymnym, skrywanym w najgłębszych zakamarkach serca, że nigdy nie przyszłoby mu do głowy mówić o nich ot tak, jak to zwykł czynić na przykład Saint-Loup, przywiązujący do nich tyleż samo wagi co Oktaw do zaprzęgów. Ponadto, jak się wydaje, naprawdę nie mógł się oprzeć skłonności do hazardu, i to mu podobno pozostało. W każdym razie, jeśli wiedziałem, że pieczołowitość, z jaką przywrócono muzyce nieznane dzieła Vinteuila, zrodziła się w mętnym światku Montjouvain, to nie mniejszym zdumieniem napawała mnie myśl, że nasza epoka swe najwspanialsze arcydzieła zawdzięcza wcale nie konkursowym egzaminom ani wzorowym programom kształcenia przepojonym duchem akademickim à la de Broglie,



tylko ludziom włóczącym się po barach, trwoniącym czas przy wagach dla dżokejów. Tak czy inaczej zarówno przyczyny, dla których w owym czasie w Balbec miałem ochotę go poznać, jak i te, dla których Albertyna z przyjaciółkami usiłowały do tego nie dopuścić, nie miały nic wspólnego z jego rzeczywistą wartością; mogłyby posłużyć jedynie jako ilustracja ogranego motywu różnicy zdań między „intelektualistą” (to miałem być ja), a „światowcem” (w tej roli występowała gromada przyjaciółek Albertyny), co do innej światowej osoby (był nią młody gracz w golfa). Zupełnie nie przeczuwałem w nim owego wielkiego talentu, a cały jego urok — podobny temu, jaki znajdowałem kiedyś w pani Blatin — zawierał się dla mnie w tym, że żyły z nim w przyjaźni moje znajome, choć one same temu zaprzeczały, i że bardziej niż ja należał do ich „bandy”. Z drugiej strony, Anna i Albertyna, wzorem osób z towarzystwa, z reguły niezdolnych do osądu w sprawach ducha, gotowe równie łatwo brać się na pozory, nie tylko bliskie były podania w wątpliwość mojej inteligencji, skoro zainteresowałem się takim patentowanym idiotą, ale przede wszystkim nie mogły pojąć, czemu — skoro już chciałem koniecznie poznać graczy w golfa — wybrałem akurat tego, najbardziej nijakiego z nich wszystkich. Co innego młody Gilbert de Belloeuve, który poza polem golfowym także miał coś do powiedzenia, maturę zdał z wyróżnieniem i układał ładne wiersze (w rzeczywistości był pośród nich największym głupcem). A jeśli było moim celem „zbierać historie” potrzebne „do pisania książki”, to Guy Saumoy, typ zupełnego szaleńca, który już porywał dwie panny, był postacią znacznie ciekawszą, więc raczej na niego powinienem zwrócić uwagę. Ci dwaj byliby zatem do przyjęcia, ale Oktaw? Czego się po nim spodziewałem? Ich zdaniem był bezdennie głupi, po prostu głupi jak but.

Wracając do tamtej wizyty, uczyniwszy mi nieoczekiwane wyznanie na temat swych intymnych związków z Albertyną, Anna dorzuciła jeszcze, że Albertyna obawiała się o to, co pomyśla sobie przyjaciółki z „bandy” i inne znajome, gdy się dowiedzą, że bez ślubu mieszka z młodym człowiekiem; miała to być jedna z głównych przyczyn, dla których mnie opuściła.

— Owszem, to mieszkanie należy do twojej matki. Ale co z tego? Nie wiesz, jakie są młode dziewczęta, jak strzegą swoich sekretów jedna przed drugą, jak strasznie się boją, co inne o nich powiedzą. Znałam panny, które wobec chłopców obnosiły się z niewiarygodną wprost surowością obyczajów, ale tylko dlatego, że znali się oni z ich przyjaciółkami i mogłyby z czymś się wygadać. A potem dowiadywałam się przypadkiem od osób trzecich, że naprawdę były zupełnie inne.

Jeszcze przed paroma miesiącami wiedza, jaką zdawała się rozporządzać Anna, o zasadach i zwyczajach dziewcząt z „bandy”, byłaby dla mnie najcenniejszym darem. Być może to, co o nich mówiła, mogłoby nawet wyjaśnić mi, dlaczego Albertyna oddała mi się natychmiast po powrocie do Paryża, choć dostałem od niej kosza w Balbec: tam bowiem jej przyjaciółki ciągle kręciły się w pobliżu, ja zaś — tkwiąc w największym błędzie — uważałem to za okoliczność bardzo korzystną dla rozwoju naszej znajomości. Być może to właśnie nadmiar zaufania do Anny, gdy nieopatrznie podzieliłem się z nią wiadomością, że Albertyna ma przenocować w Grand Hotelu, spowodowała gwałtowny zwrot w postępowaniu Albertyny, która jeszcze przed godziną byłaby skłonna pozwolić mi na różne poufalości, mając je za rzecz najzwyczajszą w świecie; nagle coś jej się odmieniło, zaczęła się bronić, grożąc mi, że naciśnie dzwonek. Lecz jeśli tak, to w innych okolicznościach mogła komuś ulec. Na tę myśl obudziła się we mnie zazdrość i uprzedziłem Annę, że muszę ją o coś spytać.

— Czy robiliście to w tym pustym mieszkaniu twojej babki?

— Ależ skąd, nigdy. Bałyśmy się, że ktoś nas przyłapie.

— Ach, tak! A mnie się zdawało, byłem nawet pewien...

— Zresztą Albertyna lubiła w tym celu wyjeżdżać za miasto.

— To znaczy dokąd?

— Dawniej, kiedy nie mogła wybrać się daleko, jeździłyśmy do Buttes-Chaumont, znała tam pewien dom; albo po prostu do lasu, w jakieś odludne miejsce. Nawet do grotty w małym Trianon.

— Sama widzisz, nie można ci wierzyć. Nie ma jeszcze roku, jak przysięgałaś mi, że w Buttes-Chaumont nic nie było.

— Nie chciałam, żebyś się tym gryzł.

Jak już mówiłem, odgadłem znacznie później, że za drugim razem, w owej godzinie szczeroci, zamiary Anny były wprost przeciwne, chciała zadać mi ból. Domyśliłbym się tego od razu, jeszcze zanim skończyła mówić, gdybym wciąż kochał jak dawniej Albertynę, sam bowiem szukałbym powodu, żeby Annie nie wierzyć. Lecz słowa Anny nie okazały się aż tak dla mnie bolesne, bym je z tego powodu odrzucił. Jeśli mówiła prawdę, o czym z początku nie wątpiłem, to prawdziwa Albertyna, jaką właśnie odkrywałem, znając wcześniej tylko liczne fałszywe jej wizerunki, była bardzo podobna do tej rozwiązłej istoty, którą przeczułem w niej już z daleka pierwszego dnia na promenadzie w Balbec. Ukazywała mi potem swój coraz bliższy i coraz to inny obraz, byłem jak podróżny, który dojeżdżając do obcego miasta zrazu ma przed oczyma jego panoramę; im dalej w głąb, tym całość staje się mniej czytelna, aż do zatarcia konturów górujących nad dachami budowli, których kształty widoczne są tylko z daleka. Kiedy już pozna to miasto na wylot i będzie umiał ocenić rzeczywiste odległości, pojmie, że jedynie prawdziwe były proporcje, które objawił mu z oddali pierwszy rzut oka, wszystko zaś to, co widział później, zapuszczając się coraz głębiej w ulice, okazywało się tylko kolejnymi liniami fortyfikacji, jakimi otacza się każdy organizm przeciwko wścibstwu obcych spojrzeń. Musimy za cenę znoju i cierpienia zdobywać mur po murze, nim uda nam się wtargnąć do samego środka, do serca. Jeśli mój ból osłabł na tyle, że mogłem już obejść się bez niezachwianej wiary w cnotę Albertyny, to zależność działała i w drugą stronę, cierpiałem mniej z powodu moich odkryć właśnie dlatego, że od pewnego czasu wiara w jej niewinność ustępowała we mnie stopniowo i niepostrzeżenie pod naporem pewności, która mnie nigdy nie opuściła — że Albertyna jest winna. A jeśli nie wierzyłem już w cnotę Albertyny, to właśnie dlatego, że wyzbyłem się samej namiętnej potrzeby wiary. Wiara bowiem rodzi się właśnie z owej potrzeby, a jeśli na ogół nie jesteśmy tego świadomi, to z tej jedynie przyczyny, że pragnienia, z których rodzi się wiara, inaczej niż moje pragnienie wiary w niewinność Albertyny, zazwyczaj opuszczają nas dopiero z ostatnim tchnieniem. Ponad dowody potwierdzające moje pierwsze wrażenie przedłożyłem przysięgi Albertyny. Dlaczego miałbym jej wierzyć? Kłamstwo leży wszak w naturze ludzkiej. Zapewne odgrywa w naszym życiu nie mniejszą rolę niż poszukiwanie przyjemności, zresztą na ogół poszukiwaniu przyjemności właśnie służy. Kłamiemy, by zapewnić sobie spełnienie naszych zachcianek, albo też dla ochrony własnej czci, którą goniąc za uciechami, wystawiliśmy na szwank. Kłamiemy przez całe życie, okłamujemy tych, którzy nas kochają i ich przede wszystkim, a być może ich jedynie. Tylko oni bowiem mogą zagrozić naszym przyjemnościom i na ich tylko szacunku nam zależy. W pierwszym odruchu uznałem Albertynę za istotę amoralną; dopiero potrzeba serca, które wezwało wszystkie siły mojego umysłu na pomoc w walce z powziętym przeświadczeniem, sprowadziła mnie na manowce. Być może przez cały czas dochodzą nas ze wszystkich stron jakieś sygnały sejsmiczne lub świetlne, które powinniśmy rozważać z całą powagą, jeśli chcemy poznać prawdę o ludziach. Jakkolwiek by mnie zasmuciły słowa Anny, to przecież powinno mnie cieszyć, że w końcu rzeczywistość potwierdziła moje pierwsze wrażenie, moje przecucia, nie zaś żaloszny i tchórzliwy optymizm, który oświadczył mną później. Tym lepiej, jeśli rzeczywistość stanęła na wysokości moich przecuć. Trafne domysły nachodziły mnie pierwszego dnia dwukrotnie, najpierw na plaży na widok rozwydrzonej gromady dziewcząt, w której ujrzałem alegorię zuchwałej pogoni za przyjemnością, najprawdziwszego zepsucia, a potem, po raz drugi, wieczorem, gdy przed jakąś willą zobaczyłem jak jedna z guwernantek siłą wpycha do środka Albertynę, oporną niczym zapędzane do klatki dzikie zwierzę, mimo pozorów uległości nie dające się nigdy naprawdę ujarzmić. Czyż zresztą domysły te nie współbrzmiały z rewelacjami Blocha, który kiedyś rozbudził we mnie najpiękniejsze nadzieje objawieniem wszechobecności żądz, przyprawiającej mnie potem o dreszcze przy każdym przypadkowym spojrzeniu pochwyconym na ulicy? Być może, mimo wszystko, dobrze się stało, że te pierwsze przecucia nie powróciły wcześniej, potwierdzone faktami. Póki trwała moja miłość do Albertyny, sprawiłyby mi ból zbyt wielki, lepiej więc, że jedynym śladem, jaki po nich został, były moje wieczne podejrzenia związane z tym, co tuż obok i bez przerwy działało się za moimi plecami. A może nie jedynym; innym jeszcze śladem, dłużej obecnym i bardziej rzucającym się w oczy, była po prostu sama moja miłość. Czyż nie jest prawdą, odrzucaną uparcie przez umysł, że wybrać i pokochać Albertynę to tyle, co poznać ją w całej jej brzydocie? A w tych chwilach, gdy podejrzliwość

pozostaje w uspieniu, czyż jej moce nie zasilają miłości? Czyż nieufność nie jest wyrazem szczególnej przenikliwości (której ten, kto kocha, sam nie jest świadomy), skoro pragnienia, rwące się ku wszystkiemu, co najbardziej nam obce, każą pokochać istotę zdolną ściągnąć na nas najwięcej cierpień? Nasze własne pragnienia dodają wdzięku jej ustom, spojrzeniu i kształtom; to zaś, co w jej uroku pozostaje nieuchwytnie i nieokreślone, może najmocniej nas unieszczęśliwić; ledwie obudziła nasze pragnienia, ledwie zaczęliśmy ją kochać — ze szczegółów, jak się nam jeszcze wówczas wydawało, całkiem niewinnych, można już było wyczytać wszystkie jej przyszłe zdrady i winy.

A czy wdzięk, który wabiąc mnie, skrywał wszystko to, co było w niej trującego i śmiertelnie niebezpiecznego, nie pozostawał z owymi truciznami w związku ściślejszym nawet niż u pewnych zdradliwych gatunków roślin, które urzekają bujnością kwiecia mimo śmiercionośnych właściwości soku? To możliwe — myślałem — że niezdrowe upodobania Albertyny przyczyniły się do moich późniejszych cierpień, które ją z kolei skłaniały do gestów współczujących i szczerych, budząc we mnie złudną nadzieję, że możliwe jest z nią koleżeństwo oparte na niczym nie ograniczonej lojalności, takie samo, jakie mogłoby mnie łączyć z mężczyzną. W panu de Charlus gusta równie niezdrowe jak u Albertyny rozwinęły przeciw kobiecą łagodność serca i wrażliwość umysłu. Nawet w stanie krańcowego zaślepienia nie opuszcza nas świadomość, objawiająca się choćby pod postacią przyplwów uczuć i wzruszeń; toteż jest w błędzie, kto mówi o jakimś przypadku fatalnej miłości, jeśli bowiem w ogóle jest nam dany wybór, to musi on prowadzić do fatalnych skutków.

— A czy na wycieczki do Buttes-Chaumont jeździliście w te dni, kiedy po nią do mnie wstępowałaś? — spytałem Annę.

— Nic podobnego, odkąd Albertyna wróciła z tobą z Balbec, z tym był już koniec, jeśli nie liczyć jednego zdarzenia, o którym już ci wspominałam. Nawet słyszeć o tym nie chciała.

— Aneczko, moja droga, po co brniesz w te kłamstwa? Zupełnie przypadkowo, bo nigdy nie chciałem nic o tym wiedzieć, doszło do mnie, i to ze szczegółami, co robiła nad wodą z pewną praczką; mogę ci o tym opowiedzieć dokładnie, a było to zaledwie parę dni przed jej śmiercią.

— Cóż, jeśli to się zdarzyło po jej wyjeździe, nie mogę nic o tym wiedzieć. Ona pewnie czuła wtedy, że utraciła twoje zaufanie i nie odzyska go już nigdy.

Ugiąłem się pod ciężarem tych słów. Ale potem myślałem jeszcze o wieczorze, kiedy przyniosłem gałązkę bzu, i przypomniałem sobie, że dwa tygodnie później, gdy moja zazdrość nie miała się o co zaczepić, spytałem Albertynę, czy nigdy nie była z Anną w tego rodzaju stosunkach, ona zaś odparła: „Nigdy w życiu! To prawda, że uwielbiam Annę, jestem do niej bardzo przywiązana, ale to uczucia siostrzane, i jeśli nawet miałabym te gusta, o jakie mnie chyba podejrzewasz, Anna byłaby ostatnią osobą, o której mogłabym w ten sposób pomyśleć. Przysięgnę, na co tylko chcesz, na moją ciotkę, na grób mojej biednej matki”. Uwierzyłem. Lecz jeśli nawet nie wzbudził moich podejrzeń rozdźwięk między początkową otwartością, z jaką niemalże wprost przyznawała się do tego samego, czego się później wyparła, gdy tylko zobaczyła, że nie jest mi to obojętne, powinienem pamiętać, że Swann wierzył święcie w platoniczny charakter związków pana de Charlus, o czym zapewniał mnie tegoż dnia, kiedy w podwórzu widziałem barona z krawcem Jupienem. Pozostawało przyjąć do wiadomości, że istnieją obok siebie dwa światy, jeden stworzony z tego, co mówią ludzie uczciwi i szczerzy, a drugi, ukryty w jego cieniu, wypełniony materią uczynków tych samych ludzi. I jeśli kobieta zamężna powie o jakimś młodym człowieku: „Ach, nie przeczę, że go darzę wielką przyjaźnią, ale to rzecz niewinna i czysta, przysięgam na pamięć moich rodziców”, to i my bez chwili wahania możemy przysiąc, że dopiero co wyszła z łazienki, do której biegnie w pośpiechu po każdym spotkaniu z tym młodzieńcem, by nie zająć w ciążę. Wspomnienie gałązki bzu przejmowało mnie śmiertelnym smutkiem, tak samo, jak słowa Albertyny, która nazwała mnie ponoć podstępny i wyraziła przekonanie, że nią pogardzam; lecz najboleśniej dotknęły mnie jej zaskakujące kłamstwa, które nie mogły mi się pomieścić w głowie. Pewnego dnia opowiadała mi, że była na lotnisku; że przyjaźni się z jakimś lotnikiem (bez wątpienia chciała odwrócić moje podejrzania od kobiet, wiedziała bowiem, że o mężczyzn byłem mniej zazdrośny); opowiadała mi, jak zabawny był cielęcy podziw Anny dla owego lotnika i jej

zawiść o uprzejmości, którymi zasypywał Albertynę, jak w końcu Anna zapragnęła wsiąść z nim do samolotu. A wszystko to było od początku do końca zmyślane, bo Anna, jak się okazało, nigdy tam nie była.

Gdy opuściła mnie Anna, podano już kolację.

— Nigdy nie zgadniesz, kto złożył mi dziś wizytę co najmniej trzygodzinną — powiedziała do mnie matka. — I to lekko licząc, bo przyszedłszy niemalże równocześnie z panią Cottard, która zjawiała się pierwsza, osoba ta przesiadła twardo wszystkie wizyty... miałam dziś z górą trzydziestkę gości... a wyszła dopiero przed kwadrans. Gdyby nie twoja przyjaciółka Anna, posłałabym po ciebie.

— Ale kto to był?

— Ktoś, kto nigdy nie składa wizyt.

— Księżna Parmy?

— Widzę, że mam syna bystrzejszego, niż myślałam. Nie warto zadawać ci zagadek, bo w lot znajdujesz rozwiązanie.

— Przepraszała za wczorajszą nieuprzejmość?

— Nie, to wyszłoby niezręcznie. Sama wizyta była przeprosinami. Twojej babce by się to spodobało. Około drugiej księżna spytała przez lokaja, kiedy mam swój dzień wizyt. Powiedzieli jej, że właśnie dziś, więc weszła na górę.

Z początku, czego nie ośmieliłem się powiedzieć mamie, przyszło mi do głowy, że poprzedniego dnia księżnę Parmy otaczało najświetniejsze towarzystwo, osoby, z którymi dobrze się znała, których słuchała z ochotą, toteż na widok mojej matki poczuła zniecierpliwienie, i nawet nie siła się tego ukryć. To było zupełnie w stylu niemieckich księżąt krwi, kultywowanym zresztą przez Guermantów — by nadmiar arogancji powetować posuniętą do przesady uprzejmością. Ale moja matka sądziła inaczej i po chwili przyznałam jej słusność. Otóż księżna Parmy jej po prostu nie poznała i dlatego nie uważała za stosowne się nią zająć. Po wyjściu mojej matki dowiedziała się, kto to był, może od księżnej de Guermantes, która spotkała matkę przy wyjściu, albo z listy gości, odzwierni bowiem pytali przybywających o nazwiska, by je zapisać. Księżna uznała za rzecz nie dość uprzejmą zawiadomić moją matkę przez służącego lub nawet osobiście: „Nie poznałam pani”, pomyślała więc sobie — do naszego pojęcia o grzeczności niemieckich księżąt krwi, przypominającej obyczaj Guermantów, nowa wersja zdarzeń pasowała równie dobrze, jak ta poprzednia, która nasunęła mi się na początku — że osobista wizyta, gest absolutnie wyjątkowy ze strony Jej Wysokości, zwłaszcza zaś wizyta trzygodzinna, wyjaśniłaby mojej matce całą rzecz w sposób pośredni, lecz nader przekonujący; i tak też się stało.

Szkoda mi było jednak czasu na wypytywanie matki o szczegóły tej wizyty, przypomniały mi się bowiem kolejne fakty związane z Albertyną, o które miałem wypytać Annę, lecz wyleciało mi to z pamięci. Jakże niewiele wiedziałem i jak niewiele dowiedzieć się mogłem o życiu Albertyny, o jedynej sprawie, która tak długo budziła moje żywe zainteresowanie i która wciąż jeszcze chwilami zaczynała mnie na nowo nurtować. Człowiek to stwór w istocie nie mający wieku, obdarzony zdolnością cofania się o całe lata w ciągu paru chwil, zamknięty co prawda w epoce, w której przyszło mu żyć, ale zdolny unosić się na jej powierzchni niby w basenie o zmiennym poziomie wód, sięgających to tej, to innej daty. Napisałem do Anny z prośbą, by znów przyszła. Znalazła dla mnie czas dopiero po tygodniu. Niemalże w proggu zadałem pytanie:

— A jeśli twoim zdaniem Albertyna poniechała swojego procederu, kiedy tu zamieszkała, to znaczy, że po to uciekła, żeby powrócić do niego na swobodzie? Nie wiem tylko, dla kogo mnie opuściła.

— Ależ nic podobnego, w ogóle nie w tym rzecz.

— Więc może w tym, że bywałem dla niej zbyt nieprzyjemny?

— Nie, nie sądzę. Myślę raczej, że jej ciotka tego od niej zażądała, bo miała jakieś plany co do niej i tego drania; wiesz, o kim mówię, o młodym człowieku, którego przeżywałeś Jużpomnie. Kochał się w Albertynie i poprosił o jej rękę. Widząc, że niepilno ci się z nią żenić, zaczęli się obawiać, że ta dziwna, przedłużająca się wizyta u ciebie zniechęci go w końcu do małżeństwa. Pani Bontemps, na którą on przez cały czas naciskał, wezwała ją do siebie. Albertyna była przecież zależna od wujostwa, więc kiedy zrozumiała, że musi wybierać między wami dwoma, zdecydowała się porzucić ciebie.

Moja zazdrość nigdy nie podsunęła mi takiego wyjaśnienia. Myślałem tylko o skłonności Albertyny do kobiet i uciążliwości stałego dozoru, jakiemu ją poddałem, zapomniałem zaś o tym, że pani Bontemps mogła po jakimś czasie zaniepokoić się sytuacją, która mojej matce od początku wydawała się nie do przyjęcia. Pani Bontemps, licząc się z tym, że z małżeństwa ze mną nic nie wyjdzie, obawiała się, by ów narzeczony, którego trzymała w odwodzie na wszelki wypadek, nie wycofał się w końcu także, dowiedziawszy się o wszystkim. Wbrew temu, co sądziła kiedyś matka Anny, trafiła się jednak Albertynie świetna partia. A gdy chciała być u pani Verdurin, gdy umawiała się z nią w tajemnicy i gdy rozgniewała się na mnie, że poszedłem tam po południu, nic jej nie mówiąc — celem zawiązanej intrygi nie było wcale spotkanie z panną Vinteuil, tylko z owym siostrzeńcem Verdurinów, który się w Albertynie kochał. Albowiem pani Verdurin — z zadowoleniem, jakie budzą pewne projekty matrymonialne w rodzinach, po których nie sposób się było tego spodziewać, nie wszedłszy do końca w ich sposób myślenia — podkreślała, że wcale nie przywiązuje wagi do posagu. Później nigdy już nie myślałem o tym siostrzeńcu Verdurinów, który zapewne udzielił Albertynie wstępnych nauk i któremu zawdzięczałem, być może, jej pierwszy pocałunek. Teraz więc cała konstrukcja, na którą złożyły się moje niepokoje związane z Albertyną, wymagała przebudowy, a przynajmniej adaptacji do nowego szkicu, z którym zresztą zapewne dałoby się ją pogodzić, albowiem upodobanie do kobiet nie musi przeszkadzać zamążpójściu. A jeśli zamiary matrymonialne były prawdziwą przyczyną jej wyjazdu, czyżby postanowiła nic mi nie mówić przez dumę, bym nie pomyślał, że nie może zrobić kroku bez zgody ciotki albo że chce mnie podstępem nakłonić do małżeństwa? Zaczynałem rozumieć, że system postępowania, wykorzystujący wielość motywów, jakie można przypisać tym samym czynkom, poręczny dla Albertyny w jej kontaktach z przyjaciółkami, gdy każdej z osobna dawała do zrozumienia, że na nikim więcej tak jej nie zależy, był tylko zręcznym sposobem spożytkowania dla własnych celów powszechnego odruchu, by uczynki innych tłumaczyć zgodnie z własnym punktem widzenia. Ogarnął mnie wstyd, że nigdy nie pomyślałem, w jak dwuznacznym położeniu pobyt u mnie stawiał Albertynę w oczach jej ciotki, lecz zaskoczenie, jakie się z tym wiązało, nie spadło na mnie po raz pierwszy w życiu ani nie ostatni. Ileż to razy już mnie ono dosięgło, gdy próbowałem zrozumieć naturę związku dwóch osób i powody kryzysu, tymczasem ktoś trzeci nagle naświetlił mi tę sprawę ze swojego punktu widzenia, z jednym z tych dwojga był bowiem bliżej niż ja; stamtąd, skąd patrzył, przyczyna konfliktu była wyraźnie widoczna! Jeśli zaś motywy uczynków są tak nieuchwytnie, to jakim cudem moglibyśmy wiedzieć coś pewnego o ludziach? Gdyby dać posłuch tym, którzy widzieli w Albertynie wyrachowaną spryciarę polującą na męża, to ocena jej pobytu w moim domu byłaby niedwuznaczna. A tymczasem w moich oczach stała się ona ofiarą, zapewne nie całkiem niewinną, lecz jej wina w każdym razie dotyczyła zupełnie innej sfery spraw: niezdrowych skłonności, które tutaj nie miały nic do rzeczy.

Powiedzieć jednak należy przede wszystkim, że kłamstwo, będąc z reguły cechą osobowości, czasem okazuje się, zwłaszcza u tych kobiet, które z natury nie są kłamczyniami, doskonałym wytrwale odruchem obrony przed niebezpieczeństwem, które spada zniechcane i zdolne jest obrócić w ruinę całe nasze życie: przed miłością. Z drugiej strony, to nie przypadek, że ludzie wrażliwi i myślący wiążą się zwykle z kobietami o twardym sercu, które ustępują im pod względem intelektu; że zależy im na nich mimo to, i nawet mając pewność, że nie są kochani, pragną za wszelką cenę zatrzymać wybrankę przy sobie. Jeśli powiem, że tacy mężczyźni chcą, by ich ranić, wyrażę się ściśle, choć pominę wówczas przyczyny składające się na owo — w jakimś stopniu mimowolne — poszukiwanie udręki; przyczyny, których jest ono bezpośrednią i oczywistą konsekwencją. Natura ludzka w ogóle jest daleka od doskonałości, a ludzie wrażliwi i myślący na ogół cierpią na słabość woli, toteż stają się igraszką własnych przyzwyczajień i obaw; każdy z nich stale drży ze strachu przed nagłym bólem i wieczną męką, na jaką sam siebie skaże, jeśli zdobędzie się na rozstanie z kobietą, która go nie kocha. Zdziwimy się, że wystarcza mu tak niewiele jej miłości, bo nie myśleliśmy o tym, jak wielki ból może mu zadać ta miłość, która przepelnia jego własne serce. I w tym bólu nie będziemy mu nawet współczuć zbyt, wiedząc, że najcięższe przeżycia, jakich doznajemy z powodu nieszczęśliwej miłości, rozstania albo śmierci ukochanej osoby, są niby ataki paraliżu; powalają nas, lecz z czasem odzyskujemy władzę w kończynach i utracone siły. Ci ludzie myślący i wrażliwi nie cier-

pią na próżno. Z reguły są nienawykli do obcowania z kłamstwem, uderza w nich ono jak grom z jasnego nieba, bo przy całej swej inteligencji żyją w świecie wyobrażeń i rzadko przechodzą do czynu, pochłonięci bez reszty cierpieniem, które zadaje im ukochana; nie mają jasnego pojęcia o tym, czego od nich chce, czego w ogóle pragnie i co robi — wiedzy, która dana jest naturom władczyim, korzystającym z niej, by przyszłości narzucić swoją wolę, miast płakać nad przeszłością. Otóż ludzie wrażliwi czują, że są zwodzeni, ale tego nie widzą. Kobieta przeciętna, na którą ku zdumieniu przyjaciół zechcieli w ogóle zwrócić spojrzenie, wnosi w ich świat więcej niespodzianek, niż można by oczekiwać po którejkolwiek z kobiet myślących i wrażliwych jak oni. Za każdym z jej słów przeczuwają kłamstwo, każdy adres, pod którym rzekomo miała kogoś odwiedzić, mógł zostać podany zamiast przemilczanego, prawdziwego, za każdym zdarzeniem i osobą może kryć się coś innego lub ktoś inny. Nie wiedzą, rzecz jasna, kto, co i gdzie, nie starcza im siły i brakuje sposobności, by zdobyć tę wiedzę. Kobiecie, która kłamie, wystarcza na stałe jedna prosta sztuczka, nie stara się nawet zmieniać szczegółów swojej bajeczki, gdy zwodzi nią wielu równocześnie albo — co dziwi jeszcze bardziej — wciąż tego samego człowieka, który mógł już dawno ją zdemaskować. Tak to przed oczyma wrażliwego intelektualisty rozsnuwa obraz świata, którego przestrzenie chciałaby przeniknąć jego zazdrość i który budzi pewne zainteresowanie jego umysłu. Nigdy jednak nie stałem się w pełni kimś takim, a teraz, po śmierci Albertyny, zdołałem, być może, dotrzeć do tajemnicy jej życia. Ale czy te niedyskrecje, na jakie pozwalamy sobie wobec osób, których ziemską drogą dobiegła kresu, nie dowodzą, że nikt naprawdę nie wierzy w życie przyszłe? Jeśli w plotkach jest cień prawdy, to ich roznosiciele powinni obawiać się, że spotkają na tamtym świecie ludzi, których tajemnic nie uszanowali po ich śmierci; powinni obawiać się tego samego gniewu, z którym liczyli się za ich życia, gdy czuli się jeszcze w obowiązku trzymać język za zębami. Jeśli zaś są one do cna fałszywe, zmyślone w poczuciu bezkarności, bo nie ma już osoby, która mogłaby zaprzeczyć, oszczercy powinni tym bardziej bać się gniewu zmarłych — jeśli wierzą w tamten świat. Ale wygląda na to, że nikt nie wierzy.

Niewykluczone, że w sercu Albertyny chęć pozostania przy mnie wiodła dramatyczne i długotrwałe zmagania z wolą opuszczenia mnie; być może więc decyzja wyjazdu została podjęta pod naciskiem ciotki albo tego młodego człowieka, nie zaś z powodu kobiet, które nie były dla niej aż tak ważne. Dla mnie najistotniejsze było jednak to, że Anna, która nie musiała już ukrywać przede mną prawdy o obyczajach Albertyny, przysięgała mi, że tego rodzaju związek nigdy nie łączył Albertyny z panną Vinteuil ani z jej przyjaciółką. (Albertyna nie była ponoć jeszcze świadoma swoich gustów, kiedy poznała te dwie, one zaś, z obawy, że uczynią fałszywy krok, zbyt pochopnie stawiając na to, co byłoby po ich myśli — albowiem przesadne obawy równie często, jak przesadne nadzieje, prowadzą do błędów — z góry uznały ją za zupełnie niechętną tym sprawom. Być może później dowiedziały się, że ma takie same gusta jak one, ale wtedy już zbyt dobrze ją znały i ona znała je zbyt dobrze, by mogły oddawać się tym zabawom wspólnie).

Lecz wciąż nie mogłem zrozumieć, dlaczego Albertyna odeszła. Jeśli tak trudno jest przeniknąć wzrokiem twarz kobiety, ów zmienny, ruchomy krajobraz, to jeszcze trudniej zbadać ją dotykiem warg, a najtrudniej ogarnąć pamięcią, pełną chmur, które przesłaniają mniejszą lub większą część całości — co z kolei zależy od naszej pozycji i majątku, od wysokości, z jakiej my sami mogliśmy spoglądać na ukochaną. Jakże gruba musi być zatem owa kurtyna oddzielająca doskonale widoczne czyny od motywów, jakie im przyświecały! Motywy kryją się w ciemnościach, których nasz wzrok nie przenika, a oprócz czynów, o których wiemy, rodzą inne, całkiem przed nami ukryte, z tamtymi stojące nieraz w zupełnej sprzeczności. Jakaż epoka nie znała mężów stanu, uważanych niemal za świętych, którzy okazywali się później kłamcami, sprawcami nadużyć, zdrajcami ojczyzny? Iluż wielkich panów rok w rok okradanych było przez rządców, zawdzięczających im edukację, cieszących się zaufaniem jako ludzie uczciwi, i może nawet w przeszłości uczciwych naprawdę? Jakże nieprzenikniona staje się owa kurtyna, gdy skrywa przed nami pobudki tych, których kochamy! Miłość bowiem wnosi zamęt nie tylko w nasze myśli, lecz także w uczynki ukochanej osoby; upewniwszy się co do naszych uczuć, nagle przestaje ona cenić to, co w innych okolicznościach wiele by dla niej znaczyło, na przykład nasz majątek. Być może, widząc, jak bardzo jest kochana, pozwala sobie udawać, że gardzi majątkiem, bo ma nadzieję uzyskać więcej, jeśli stanie się przyczyną naszych cierpień.

Zamiar wytargowania jakichś korzyści wpływa więc na jej uczynki. Podobnie jak minione zdarzenia z jej życia; na przykład tajemnice, z których nie zwierzyła się nikomu z obawy, by to nie doszło do naszych uszu, mimo wszystko niejedną mógł poznać, jeśli tylko pragnął tego równie gorąco, jak my sami, a przy tym zachował kamienną twarz pokerzysty, by nie obudzić podejrzeń; albowiem musiał istnieć i ktoś, kto wiedział o jej ciemnych sprawkach — jakiś człowiek nam nie znany, którego nie sposób odszukać. A wśród innych jeszcze przyczyn jej niejasnych i sprzecznych postępów trzeba by wymienić cechy osobowości, które mogły ją skłonić, by rzuciła na szalę własną pomyślność — czy to za sprawą nienawiści, czy też z umiłowania swobody, czy może w ataku gniewu, albo z obawy o reputację — i popchnąć ją do uczynków sprzecznych z tym, czegośmy mogli się po niej spodziewać. Pewną rolę odgrywają tu nawet różnice pochodzenia i wychowania, choć wolimy o nich zapomnieć, i póki jesteśmy razem, próbujemy zatrzeć je z pomocą słów. Lecz w chwilach rozłąki powracają, by narzucić każdemu z dwojga perspektywę tak odmienną, że prawdziwa bliskość stanie się niemożliwa.

— Ależ Aneczko, znowu mi kłamiesz. Przypomnij sobie, wiem to przecież od ciebie, dzwoniłaś do mnie w przeddzień, pamiętasz? Albertyna, kryjąc się z tym przede mną, jakby miała coś na sumieniu, koniecznie chciała wybrać się do pani Verdurin tego dnia, kiedy spodziewano się tam panny Vinteuil.

— Tylko że Albertyna nic nie wiedziała o przyjeździe panny Vinteuil.

— Jak to? Przecież sama mi mówiłaś, że widziała się z panią Verdurin parę dni wcześniej. Zresztą, moja złota, po cóż owijać w bawełnę? Któregoś ranka znalazłem w pokoju Albertyny liścik od pani Verdurin, wysłany po to, by przypomnieć jej o wizycie. — I pokazałem Annie ów liścik, wtedy wyciągnięty naumyślnie przez Franciszkę na sam wierzch spod innych papierów Albertyny. Zrobiła to na parę dni przed ucieczką Albertyny, chcąc, jak się obawiam, podsunąć jej myśl, że przeszukiwałem rzeczy, a w każdym razie dać do zrozumienia, że ten list miałem w rękach. Po wielekroć zadawałem sobie pytanie, czy podstępne poczynania Franciszki nie przesądziły w końcu o decyzji wyjazdu; widząc, że nic się przede mną nie ukryje, Albertyna mogła poczuć się osaczona, upokorzona. Wskazałem Annie owo zdanie: „Czynię to bez poczucia winy, usprawiedliwieniem niech mi będą jakże zrozumiałe uczucia rodzinne...” — A przecież wiesz o tym, Anno, że według słów Albertyny przyjaciółka panny Vinteuil była dla niej jak matka, jak siostra.

— Ależ nic nie pojąłeś z tego listu. Osobą, z którą miała się spotkać Albertyna u pani Verdurin, nie była wcale przyjaciółka panny Vinteuil, tylko ów narzeczony, Jużpomnie. Co do uczuć rodzinnych, gdy o nich wspomina, na myśli ma właśnie tego durnia, swego siostrzeńca. Nie można wykluczyć, że Albertyna w ostatniej chwili dowiedziała się o przyjeździe panny Vinteuil, pani Verdurin mogła dać jej o tym znać. Z pewnością chętnie zobaczyłaby się z przyjaciółką panny Vinteuil, by odświeżyć miłe wspomnienia; ty także byłbyś się ucieszył na wieść, że Elstir będzie w domu, do którego wybierasz się z wizytą; ale tylko tyle, nic więcej, a być może mniej. Otóż jeśli Albertyna, upierając się pójść do pani Verdurin, nie chciała ci wyznać przyczyny, to dlatego jedynie, że miała się tam odbyć próba, na którą zaproszono wybranych gości, a wśród nich tego siostrzeńca, którego poznałeś w Balbec, którego pani Verdurin żeniła z Albertyną i chciała, żeby się rozmówili. Och, był z niego ładny gagatek... A zresztą, po co wdawać się w szczegóły. Jeden Bóg wie, jak lubiłam Albertynę i jakie z niej było dobre stworzenie, ale niestety po przebyciu tyfusu (na rok przed początkiem naszej znajomości) zrobiła się strasznie narwana. Ni stąd, ni zowąd oświadczała, że czegoś tam ma po dziurki w nosie, rzucała to w diabły bez chwili zastanowienia, a potem sama nie wiedziała, co ją napadło. Pamiętasz, co się zdarzyło w roku twojego pierwszego przyjazdu do Balbec? Pewnego pięknego dnia sama sobie wysłała depeşe, w której wzywano ją rzekomo do Paryża. Ledwo zdążyliśmy zapakować jej kufry. Otóż nie miała żadnych powodów, by wracać. Te, które podawała, były fałszywe. W Paryżu mogła się tylko zanudzić na śmierć. Cała nasza banda zostawała w Balbec. Sezon gry w golfa jeszcze trwał i nawet rozgrywki o wielki puchar, na które tak czekała, nie były zakończone. Miała zwycięstwo w kieszeni, gdyby zechciała na nie poczekać raptem tydzień. I cóż, dała dyla. Wiele razy z nią o tym rozmawiałam. Sama nie miała pojęcia, dlaczego postanowiła uciec. Raz mówiła, że z tęsknoty (u niej tęsknota za Paryżem, uwierzyłbyś? dobre sobie!), to znowu, że obrzydło jej Balbec, bo ciągle czuła, że ktoś się z niej za plecami śmieje.

W tym, co mówiła mi Anna, odnajdywałem ziarno prawdy. Różnice w sposobie myślenia wyjaśniają różnorodność skojarzeń, jakie u różnych ludzi może wywołać postępowanie tej samej osoby; różnice postaw i typów uczuciowości tłumaczą, dlaczego nie można pozyskać kogoś, kto nas nie lubi. A poza tym istnieją jeszcze różnice osobowościowe, szczególne cechy charakteru, które także mają wpływ na postępowanie. W końcu w ogóle przestałem sobie łamać głowę nad motywami ludzkich uczynków, stwierdziwszy, że życie jest zbyt zawile i nie sposób dojść prawdy.

Trudno było nie zauważyć, jak bardzo Albertynie zależało na wizycie u pani Verdurin, i jakich dokładała starań, by owo gorące pragnienie przede mną zataić. Nie pomyliłem się. Lecz zawsze kiedy uda się nam w podobny sposób pochwycić któryś z faktów, pozostałe zwodzą pozorami i wyślizgują nam się z rąk, a zamiast rzeczywistości ukazuje się naszym oczom jej spleaszona makieta, na którą patrząc, mówimy sobie: „Więc to tak, a to znów tak; to z powodu tej albo tamtej”. Wydawało mi się, że wiadomość o przybyciu panny Vinteuil wszystko wyjaśnia, tym bardziej że Albertyna, jakby wychodząc naprzeciw mojej dociekliwości, sama się wygadała. A czyż nie mówiła mi potem, gdy kazałem jej przysięgać, że spotkanie z panną Vinteuil nic dla niej nie znaczyło? Teraz zaś, w związku z tym młodym człowiekiem, przypomniałem sobie o czymś, co już dawno uleciało mi z pamięci. Raz spotkałem go w czasach, kiedy Albertyna u mnie mieszkała; inaczej niż w Balbec odnosił się do mnie nadzwyczaj przyjaźnie, wprost nadskakiwał mi. Chciał mnie koniecznie odwiedzić, ale z wielu powodów wołałem tego uniknąć. Pojąłem, że zamierzał nawiązać ze mną stosunki, wiedząc o pobycie Albertyny w naszym domu, bo chciał ją bez przeszkód widywać i miał nadzieję w swoim czasie sprzątnąć mi ją sprzed nosa; uznałem go za niegodziwca. W jakiś czas później obejrzałem pierwsze z jego przedstawień. Nie zmieniło to mojego przekonania, że jeśli chciał złożyć mi wizytę, to w rzeczywistości chodziło mu tylko o Albertynę, i nadal osądzałem go surowo. Przypomniałem sobie jednak, że sam kiedyś odwiedziłem Roberta w Doncieres, w rzeczywistości mając na względzie panią de Guermantes, w której się wtedy kochałem. Prawda, że to niezupełnie to samo: Saint-Loup nie był zakochany w pani de Guermantes, i jeśli nawet moja serdeczność wobec niego była odrobinę nieszczerą, to przynajmniej nie pachniała zdradą. Potem pomyślałem sobie, że taka dwuznaczna serdeczność wobec człowieka, który posiada coś, czego bardzo pragniemy, może zrodzić się w nas równie dobrze wówczas, gdy ten ktoś ceni i kocha skarb, znajdujący się w jego rękach. Bez wątplenia należałoby wtedy zwalczać w sobie uczucie przyjaźni, które prowadzi nas prosto do zdrady. Chciałbym wierzyć, że sam tak postępowalem. Są jednak ludzie, którym nie starcza na to sił, i nie jest prawdą, że cała przyjaźń, jaką mają oni dla posiadacza skarbu, jest tylko podstępny wybiegiem. Żywią ją szczerze i okazują z takim zapalem, że kiedy zdrada stanie się faktem, oszukany mąż albo kochanek może zawołać w gniewnym zdumieniu: „Trzeba było słyszeć, jak mnie ten łajdak zapewniał o przyjaźni! Mogę jeszcze zrozumieć, że ktoś wydziera drugiemu, co ten miał najdroższego. Ale ta szatańska potrzeba, by przekonywać go przedtem o swym przywiązaniu, to już jest szczyt perfidii, to się po prostu nie mieści w głowie!” Otóż nie: nie ma w tym żadnej perfidii, nie ma nawet świadomego kłamstwa.

Ta serdeczność, jaką owego dnia okazał mi mój niby-konkurent do ręki Albertyny, tłumaczyła się jeszcze inaczej, nie będąc tylko bezpośrednim następstwem jego miłości, lecz czymś znacznie bardziej złożonym. Od niedawna uważał się i chciał być uważany za intelektualistę. Po raz pierwszy znalazł w życiu coś ważniejszego od przewag sportowych i hulank. Wiedział, że cenili mnie Elstir i Bergotte, być może Albertyna powtarzała mu moje opinie o różnych pisarzach i dodała swoją, o tym, co byłbym w stanie stworzyć, toteż stałem się dla niego (który właśnie odkrył w sobie nowego człowieka) kimś interesującym, z kim warto utrzymywać stosunki towarzyskie, komu chętnie zwierzyłby się ze swoich projektów, a może nawet poprosiłby, żebym go przedstawił Bergotte'owi. Był więc szczery, kiedy się do mnie wpraszał, wyrażając sympatię, którą jej intelektualne tło, wraz z opromieniającą mnie swym blaskiem przychylnością Albertyny, czyniło całkiem wiarygodną. Zamiar zbliżenia się do Albertyny z pewnością nie był jedynym wyjaśnieniem jego stanowczo wyrażonej chęci złożenia mi wizyty, na której tak mu zależało, że gotów był rzucić wszystko, by przybiec. Ale intencja ta rozpałała w nim do szaleństwa inne, jawne pobudki jego działania, podczas gdy sama pozostała ukryta w cieniu. Nie inaczej było z Albertyną, kiedy tak bardzo chciała pójść w dniu próby do pani Verdu-



rin; mogło odezwać się w niej najzupełniej niewinne oczekiwanie przyjemnego spotkania z przyjaciółkami dzieciństwa, w jej oczach nie bardziej zepsutymi niż dla nich ona sama, oczekiwanie radosnej sposobności, by zamienić z nimi parę słów, a także dać do zrozumienia przez samą swą obecność u Verdurinów, że biedne dziecko, które znały kiedyś, należy teraz do elity przyjmowanej w tym wykwintnym salonie — nie wspominając już o przyjemności, jaką być może sprawiłaby jej sama muzyka Vinteuila. A jeśli wszystko to było prawdą, to rumieniec, który zabarwił jej policzki, kiedy wspomniałem o panie Vinteuil, miał za jedyną przyczynę zamysł ukrycia przede mną prawdziwego celu tej wizyty, związanego z intrygą matrymonialną uknutą za moimi plecami. Nie chciała mi przysiąc, że spotkanie z panną Vinteuil jest jej obojętne, i roznieciła tym burzę w moim sercu, utwierdzając mnie w podejrzeniach; teraz jednak uznałem to za dowód jej prawdomówności w tej niewinnej sprawie, prawdomówności, na którą pozwoliła sobie może tylko dlatego, że sprawa była niewinna w istocie. Z drugiej jednak strony pamiętałem, co mówiła mi Anna o swoich stosunkach z Albertyną. Nawet nie posuwając się do przypuszczenia, że zmyśliła to wszystko od początku do końca, bym nie czuł się wybrańcem losu, kimś wywyższonym ponad nią, i tak mogłem pomyśleć, że bardzo przesadziła, opisując mi swoje zabawy z Albertyną, której znowu wewnętrzne zahamowania kazały bagatelizować to, czemu się oddawała z Anną. Pojęciami, których, mówiąc o tych sprawach, użyłem kiedyś bez zastanowienia, Albertyna manipulowała z jezuicką obłudą, chcąc sobie udowodnić, że jej stosunki z Anną nie wchodzą w zakres tego, co miałem na myśli; wówczas mogła już uznać, że nie splami się kłamstwem, gdy zaprzeczy faktom. Ale skąd pewność, że to właśnie ona kłamała, nie zaś Anna? Prawda jest rzeczą równie zawilą jak życie. Wszystkie moje wysiłki, by zgłębić prawdę i pojąć życie, speszły na niczym, pozostawiając we mnie osad smutku przykryty powłoką znużenia.

Pewnego dnia, na długo po ostatniej wizycie Anny, po raz trzeci uświadomiłem sobie, jak blisko mi do całkowitej obojętności wobec Albertyny (tym razem czułem naprawdę, że już osiągnąłem ten stan); gdy się to zdarzyło, byłem w Wenecji.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Matka zabrała mnie do Wenecji na kilka tygodni; skoro zaś piękno opromienia rzeczy najcudowniejsze na równi z tymi całkiem pospolitymi, doznawałem wrażeń żywo przypominających inne, którymi karmiłem się w swoim czasie w Combray, choć teraz powróciły w nowej tonacji i z nieporównanie większym bogactwem brzmień. Gdy o dziesiątej rano pokojowa przychodziła otworzyć okiennice, zamiast blasku czarnego marmuru, jaki roztaczał łupkowy dach kościoła Św. Hilarego, widziałem złotą lunę, bijącą od anioła z dzwonnicy Św. Marka. Płonąc odbitą światłością, oślepił tak, że nie sposób było zatrzymać na nim wzroku, lecz jego szeroko rozpostarte ramiona niosły mi obietnicę niebiańskiej radości, czekającej mnie już za pół godziny na Piazzetcie, i to bardziej niezawodnie niż tamta, którą niegdyś zwiastował ludziom dobrej woli. Póki leżałem w łóżku, nie widziałem nic prócz anioła. Lecz cały świat jest jak wielki zegar słoneczny: by wskazał godzinę, wystarczy promień światła padający na mały skrawek jego tarczy; toteż pierwszy poranek przypomniał mi o sklepikach na placu Kościelnym w Combray, które właśnie się zamykały, kiedy szedłem na niedzielną mszę, a w słońcu prażącym mocno już o tej porze przenikliwy fetor podnosił się z nad słomy porozrzucanej po rynku. Ale drugiego dnia tym, co ujrzałem zaraz po przebudzeniu i co skłoniło mnie do zerwania się z łóżka (zajawszy w mojej pamięci i w pragnieniach miejsce wspomnień z Combray), były wrażenia pierwszej wczorajszej przechadzki po ulicach Wenecji, na których toczyło się codzienne życie nie mniej niż w Combray rzeczywiście. I tak samo jak w Combray, z przyjemnością wychodziło się w niedzielny poranek na odświętną ulicę, choć tutaj ulicą była marszcząca się w podmuchach ciepłego wiatru tafla wody o barwie szafirowej i na tyle mocnej, by moje znużone spojrzenie mogło na niej spocząć bez obawy, że zmaści czystość szafiru. Tak samo jak w Combray poczciwi mieszkańcy ulicy Ptasiej, w tym nowym dla mnie mieście ludność wylegała z domów, stojących jeden przy drugim wzdłuż ulicy, tyle że w Wenecji cień pod stopy rzucały pałace z porfiru i jaspisu, o portalach sklepionych łukiem, nad którym brodaty bożek wystawiał głowę poza linię muru, tak jak w Combray sterczały kołatki u drzwi, i jakimś błyskiem podkreślał głębię cienia kładącego się jednak nie na

brunatnej ziemi, tylko na olśniewającym błękitcie wód. Na Piazzie cień przypominał mi tamten, który w Combray rzucała markiza rozpięta nad sklepem z konfekcją i szyld fryzjera, lecz tu był on usiany mnóstwem niebieskich kwiatków, padających u stóp zdobnej w płaskorzeźby renesansowej fasady na zalany słońcem bruk pustego placu; kiedy słońce prażyło najmocniej, w Wenecji, mimo bliskości kanałów, tak samo jak w Combray nie obywało się bez opuszczania stor. Tyle że tutaj stopy wisiały w gotyckich oknach z ozdobnym czteroliściem i zawiłym ornamentem. Tak właśnie wyglądało ukryte za balustradą balkonu hotelowe okno, w którym matka, wpatrzona w zieleni kanału, zwykła czekać na mnie z cierpliwością, na jaką nie było ją stać w Combray w dawnych czasach, kiedy jeszcze pokładała we mnie nigdy później nie spełnione nadzieje i kryła się z tym, że zbyt mocno mnie kocha; teraz wiedziała już, że udawaniem chłodu niczego więcej nie osiągnie, a czułość, jaką dla mnie miała, była niczym owe zabronione potrawy, których przestaje się choremu odmawiać z chwilą, kiedy wiadomo już, że jego przypadek jest beznadziejny. Pewne szczególne właściwości nadawały niepowtarzalny charakter oknu ciotki Leonii w Combray, w jej domu przy ulicy Ptasiej: asymetryczne położenie związane z rozmieszczeniem dwóch sąsiednich okien, nadzwyczaj wysoki drewniany parapet, zagięta sztaba służąca do otwierania okiennic, firanki z dwóch sztuk lśniącej błękitnej satyny, przewiązanych w połowie tasiemkami. Każdy z owych szczegółów znalazłby swój odpowiednik w tym weneckim hotelu. Tak samo jak dom w Combray, przemawiał on do mnie tym wymownym i sobie właściwym językiem znaków, po których z daleka rozpoznajemy swoją siedzibę, wracając do niej na obiad. Pozostają na zawsze w pamięci na dowód, że w swoim czasie tam był nasz dom. Tyle tylko że inaczej niż w Combray albo w innych miejscach, gdzie znakami takimi bywają rzeczy najzwyklejsze i najlichsze, w Wenecji przyzywał mnie łuk na poły arabski, zdobiący fasadę reprodukowaną we wszystkich albumach historii sztuki jako arcydzieło średniowiecznej architektury mieszkalnej, fasadę, której makietę spotykamy w muzeach. Rozpoznawałem ją z daleka, ledwie minąwszy San Giorgio Maggiore, ona w tejże chwili spoglądała na mnie, a porywająca strzelistość ostrołuku, niczym powitalny uśmiech, nadawała całości wyraz dystyngowanej pogody, wzniosły i nieodgadniony. Za balustradką z wielobarwnego marmuru moja matka skracając sobie lekturę czasu oczekiwania, chowając twarz pod tiulem woalki, która swą bielą rozdzierała mi serce tak samo jak jej siwizna, bo czułem, że ukrywając łzy, matka zarzuciła ją na swój słomkowy kapelusz nie tylko po to, by strój prezentował się lepiej w oczach gości hotelowych, lecz także dla mnie, chcąc ukazać mi się nie tak całkowicie pogrążoną w żalobie, mniej smutną, nareszcie trochę pocieszoną po śmierci mojej babki; nie od razu zauważyła mnie w gondoli, lecz kiedy zawołałem, udzieliła mi swej miłości prosto z serca, posłała ją ku mnie na skrzydłach spojrzenia, tak daleko, jak tylko to możliwe, aż po granicę, za którą ono samo traciło ostrość; złożyła przy tym wargi w uśmiech, który wydawał się pocałunkiem — ujętym w ramę uśmiechu jeszcze bardziej nieuchwytnego, pod baldachimem ostrołuku skąpanego w blasku południowego słońca. W mojej pamięci to okno nabrało słodczy właściwej rzeczom towarzyszącym nam w jakiejś pamiętnej godzinie naszego życia, która wybiła równocześnie dla nas i dla nich. I przy całym zachwycie, jaki budziły proporcje tego słynnego okna, pozostało w nim dla mnie coś intymnego, niczym osobiste wspomnienie o wielkim człowieku, jakie zachowaliśmy, spędziwszy z nim cały miesiąc na letnisku, gdzie zdążył nas trochę polubić. Za każdym razem, kiedy w jakimś muzeum natrafiałem na makietę tego okna, z ledwością powstrzymywałem łzy, przemawiało do mnie bowiem słowami, od których nic już bardziej nie mogło mnie wzruszyć: „Pamiętam twoją matkę”.

A jeśli nie zastawałem mamy przy oknie, udawałem się na poszukiwanie; przyszedłszy prosto z rozprężonej upałem otwartej przestrzeni, zanurzałem się w chłodzie, z tym samym uczuciem co niegdyś w Combray, gdy szedłem na górę do swojego pokoju. Tylko że w Wenecji chłód płynął od morza i owiewał mnie, kiedy stąpałem po lśniących stopniach majestatycznych marmurowych schodów, tamte zaś były drewniane, wąskie i ciasne. Marmur niebieskawo połyskiwał odbitym światłem słonecznym, do kształcącej lekcji udzielonej nam przez Chardina dorzucając jeszcze lekcję Veronesego. Jeśli w Wenecji doznania życia codziennego przesycone są pięknem najwspanialszych dzieł sztuki, to uciekanie się do przedstawiania jedynie nędzy zapadłych zaułków, gdzie gaśnie splendor tego miasta, jak też próby uczynienia Wenecji prawdziwszą, bardziej ludzką przez nadanie

jej cech jakiegoś pospolitego Aubervilliers — z czystej niechęci do dzieł paru malarzy, którzy uwiecznili chłodno i estetyzująco oblicze co bardziej okrzyczanych jej zabytków (nie mówimy tu o wspaniałych szkicach Maxime'a Dethomas) — należy uznać za przejaw niezrozumienia jej istoty. Podobny błąd popełniło wielu artystów, którzy w odruchu zrozumiałego buntu przeciwko sztuczności, przeciwko Wenecji złych malarzy, nie chcieli widzieć nic prócz realistycznej nędzy zaniedbanych *campi* i *rii*.

W podobne miejsca zapuszczałem się popołudniami, jeśli akurat nie towarzyszyłem matce. Tam najłatwiej mi było zawierać znajomości z kobietami z ludu, sprzedawczyniami zapalek, nawlekaczkami pereł, robotnicami z fabryki szkła i koronczarkami, z ciężko pracującymi dziewczętami w wielkich czarnych chustach zdobnych we frędzle, i nic nie stanęłoby na przeszkodzie, gdybym zechciał je kochać, bo już prawie nie pamiętałem Albertyny; a jeśli wydawały mi się bardziej od innych godne pożądania, to z kolei dlatego, że nie zapomniałem jej jeszcze całkiem. Nikt zresztą nie potrafiłby powiedzieć, ile w owej namiętności, która pchnęła mnie w pogoń za wenejkami, było urzeczenia ich wdziękiem, ile sentymentu do Albertyny, ile zaś moich dawnych fantazji na temat Wenecji. Nawet najbłahsze z pragnień, choć każde z nich wydaje się niepodzielną jak akord całością, niesie w sobie pewne tony podstawowe dla kompozycji, jaką jest nasze życie. I gdyby uległ stłumieniu któryś z tych tonów, to choć dla naszych uszu są one niesłyszalne, obce świadomości i na pozór bez związku z tym, o czym marzymy, okazałoby się wkrótce, że i pragnienia uleciały bez śladu. Były jedną z wielu rzeczy uchodzących mojej uwagi, kiedy ogarnięty gorączką podążałem tropem wenejkanek.<sup>1439</sup> Moja gondola płynęła wąskimi kanałami; mógłbym pomyśleć, że to niewidoczny duch Orientu wiedzie mnie przez kręte zaułki tego miasta; w miarę posuwania się naprzód, doznawałem wrażenia, że otwiera się przede mną szlak władczo przecinający cieką brudą pisaną na wodzie samo serce tej dzielnicy, podczas gdy po obu stronach kanału zostawały w tyle wysokie domy o wąskich mauretańskich okienkach. I wydawało się, że mój niewidoczny przewodnik trzyma w dłoni świecę, żeby oświetlać mi drogę: to mury przepuszczały tu i ówdzie słoneczny promień, pozwalając mu na chwilę rozblysnąć.

Czuło się, że gdyby tych ubogich kamienic nie rozdzielił kanał, utworzyłyby zwartą bryłę bez jednego skrawka wolnej przestrzeni; dzwonnice kościołów i altanki wyrastały już wprost z tafli wody, jak w mieście nawiedzonym przez powódź. Ale za sprawą tej samej metamorfozy, dzięki której wody morza, wypełniające Canale Grande, z tak znakomitą skutkiem mogły unieść ruch uliczny — połączyły one także liczne kościoły i ogrody wynurzające się z wód po obu stronach *canaletto* w tej starej i ludnej dzielnicy gęsto stłoczonych parafii, biednych i noszących widoczne piętno ubóstwa, odwiedzanych tłumnie przez prosty lud. Przecięte kanałami ogrody pozwalały wodzie unosić liście i strącone z drzew owoce, a pod ścianami z szorstkiego piaskowca, jakby dopiero co ociosanego w pośpiechu, można było natknąć się na miejscowych wyrostków tkwiących godzinami na krawężnikach, z nogami zwieszonymi w dół dla równowagi, niczym majtkowie, którzy obsiedli skrzydła ruchomego mostu, rozsunięte na chwilę, by dać morzu wolną drogę. Od czasu do czasu pojawiała się budowla piękniejsza od innych, wyskakując niczym niespodzianka na sprężynce z otwartego przez nas pudełka: jakaś maleńka świątynka o barwie kości słoniowej zdumiewała mnie korynckim porządkiem kolumnady i alegoryczną figurą na frontonie, jakby nieco speszoną sąsiedztwem rzeczy pospolitych, tłoczących się wszędzie wokół, podczas gdy zamiast dziedzińca musiało wystarczyć nabrzeże kanału, które zawsze wyglądało jak pomost służący handlarzom warzyw do przeładunku towaru. Miałem poczucie — od którego jeszcze gwałtowniej płonęły moje żądze — że nie jestem tu postronnym widzem, lecz uczestnikiem zdarzeń, zbliżającym się do sedna jakiejś tajemnicy. Coraz to bowiem po jednej albo drugiej stronie pojawiała się coś nowego, zaskakująca przestrzeń jakiegoś *campo*, jakiś budynek, który wydawał się sam sobą zadziwiony, jak wszystkie rzeczy piękne, gdy nam się ukazują po raz pierwszy i nie znamy jeszcze ich dziejów ani przeznaczenia. Wracałem pieszo wąskimi zaułkami, zaczepiając dziewczęta z ludu, jak kiedyś, być może, Albertyna, i żalowałem, że nie możemy być w tej wyprawie współnikami. Dziewczęta z pewnością nie były te same. W czasach,

<sup>1439</sup>i nic nie stanęłoby na przeszkodzie (...) podążałem tropem wenejkanek — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

kiedy Albertyna przechadzała się po Wenecji, te musiały być jeszcze dziećmi. Ale tyle już razy małodusznie zdradziłem, w sensie najdosłowniejszym, każde z moich pragnień, które w swoim czasie było największym i jedynym, i zawsze przy tym szukałem obiektu przypominającego z grubsza ten właściwy, nie zaś identycznego, którego nie miałem nawet nadziei spotkać — że jeśli teraz wypatrywałem kobiet, to z rozmysłem nie tych, które mogła znać Albertyna, tak jak nie interesowałem się już tamtymi, których sam pragnąłem przed laty. Co prawda, zdarzyło mi się nieraz w gwałtownym przypiływie żądz wspomnieć dziewczątko napotkane dawno temu w Méséglise albo w Paryżu, choćby tę mleczarkę dostrzeżoną rankiem u stóp wzgórza, podczas mojej pierwszej podróży do Balbec, lecz niestety! Pamiętałem je nadal takimi, jakimi niegdyś je ujrzałem, i jakimi teraz z pewnością już nie były. Jeśli więc dawniej życie skłaniało mnie, bym przełamując swoje poczucie wyłączności pragnień rozglądał się za pensjonarką z klasztorного internatu, podobną do tej, którą dopiero co straciłem z oczu, to gdybym dziś chciał znów ujrzeć te dziewczęta, których widok mógł w czasach młodości doprowadzić mnie, a może i Albertynę, do szaleństwa, powinienem przystać na inne jeszcze odstępstwo od owej reguły, głoszącej, że przedmiot pragnień jest niezastąpiony. Musiałbym zamiast ówczesnych szesnastolatek poszukać szesnastolatek dzisiejszych, gdy bowiem tamte twarze już się zatarły, rysem, który nadal w nich kochałem, była ich młodość. Wiedziałem, że ich dziewczęcy wdzięk przetrwał tylko w mojej rozgorączkowanej pamięci, i jeśli chciałbym posiąść tamtą młodość, której obraz podsuwały mi wspomnienia, powinienem zerwać świeży kwiat młodości rozkwitłej w ostatnim sezonie.<sup>1440</sup>

Słońce stało jeszcze wysoko na niebie, kiedy wracałem, by zabrać matkę z Piazzetty. Wezwaliśmy gondolę.

— Jakże zachwyciłaby się Wenecją twoja biedna babka, jakże ceniłaby niewymuszoną swobodę, jaka tchnie z tych cudów i może się równać z naturalnością cudów przyrody: piękno rzeczy, które nie potrzebują żadnej oprawy — wystarczy, że są tym, czym są. Bryła pałacu, kolumny, które, jak mówisz, pochodzą z siedziby Heroda, w samym środku Piazzetty; filary od Św. Jana z Akry i te konie z frontonu Św. Marka! Twoja babka z przyjemnością patrzyłaby na słońce zachodzące za Pałacem Dożów jak za masywem górskim.

I przyznawałem słuszność tym słowom mojej matki, gdy<sup>1441</sup> sunęliśmy gondolą wzdłuż Canale Grande, mijając pałace, jeden po drugim, i patrzyliśmy, jak na ich różowawych fasadach kładzie się światło, jak zmieniają się razem z nim, by nie pozostać w tyle za wskazówkami zegarków, bardziej niż do prywatnych rezydencji i zabytków przeszłości podobne do ściany przybrzeżnych skał wapiennych, u której stóp płynęlibyśmy łódką o zmierzchu, by ujrzeć zachód słońca. Budowle po obu stronach kanału przywodziły na myśl wytwór natury, ale natury obdarzonej ludzką wyobraźnią. Tymczasem jednak czuliśmy się jak na jakimś paryskim bulwarze, na Polach Elizejskich, w Lasku albo na którejkolwiek z modnych ulic, a to dzięki miejskim skojarzeniom, jakie zawsze budzą pejzaże Wenecji, widziane choćby z pełnego morza, którego wody po dwa razy na dobę przypominają o sobie przypiływem lub odpływem, to zalewając, to odsłaniając wspaniałe schody wiodące do pałaców. Mijaliśmy oprószone światłami zmierzchu szykowne niezajome, prawie same cudzoziemki, rozparte wygodnie na miękkich poduszkach swoich wodnych ekwipaży; ciągnęły jedna za drugą złożyć wizytę w któryms z pałaców i zatrzymywały się u jego wrót, by posłać służącego z zapytaniem, czy pani jest w domu, w oczekiwaniu zaś na odpowiedź już na wszelki wypadek szykowały bilet wizytowy, tak jak uczyniłyby przed bramą siedziby Guermantów. Jednocześnie zerkały do przewodników, żeby dowiedzieć się, co to za pałac, z jakiej epoki, w jakim stylu zbudowany, przy czym wznosiły się i opadały na połyskliwym grzbiecie błękitnej fali, wzbudzonej przez wodę szastającą się z gniewnym pluskiem w cieśninie między burtą roztańczonej gondoli a ścianą marmuru. Toteż każda przejażdżka, choćby wyłącznym jej celem była wizyta lub sprawunki, stawała się tu zdarzeniem jedynym w swoim rodzaju i zarazem potrójnego

<sup>1440</sup>Miałem poczucie (...) w ostatnim sezonie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1441</sup>Jakże zachwyciłaby się Wenecją twoja biedna babka (...) I przyznawałem słuszność tym słowom mojej matki, gdy — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

znaczenia, w Wenecji bowiem prócz uroków światowego życia przynosiła przyjemności, jakich szukamy w muzeach, a ponadto emocje podróży morskiej.

Spośród pałaców stojących nad Canale Grande niejeden został przerobiony na hotel; czy to z tęsknoty za odmianą, czy też z uprzejmości dla pani Sazerat, którą spotkaliśmy właśnie — a było to jedno z tych spotkań najmniej oczekiwanych i pożądanых, które jednak zdarzają się w każdej podróży — kiedy mama zaprosiła ją na obiad, przyszła nam ochota spróbować kuchni innego hotelu, o której powiadano, że jest lepsza. Gdy moja matka, zapłaciwszy gondolierowi, prowadziła panią Sazerat do uprzednio zarezerwowanego gabinetu, zajrzałem do głównej sali restauracyjnej, którą zdobiły wspaniałe marmurowe kolumny. Jej ściany były niegdyś w całości pokryte freskami, które ostatnio odrestaurowano niezbyt udatnie. Dwaj kelnerzy rozmawiali po włosku.

— Czy starzy będą jedli u siebie? Nigdy nie uprzedzą. Już mi to bokiem wychodzi, znowu nie wiem, czy mam zatrzymać dla nich stół (*non so se bisogna conservar loro la tavola*). Trudno, najwyżej będzie zajęty, kiedy w końcu zejdą. Nie mam pojęcia, dlaczego *forestieri* tego pokroju przyjmowani są w takim szykownym hotelu. To dla nich za wysokie progi.

Przy całej swojej pogardzie kelner musiał się upewnić co do stołu i właśnie miał prosić windziarza, żeby wjechał na górę zasięgnąć języka, lecz zanim ruszył się z miejsca, odpowiedź przyszła sama w osobie starszej pani, która pojawiła się u wejścia. Lecz ani nalot smutku i znużenia, jaki pozostawiły na jej twarzy mijające lata, ani nawet czerwona egzema podobna do trądziku, nie przeszkodziły mi rozpoznać w tej postaci w czepku na głowie i czarnej sukni szytej u samego W..., ale w oczach profana podobnej do kiecek starych dozorczyń — margrabiny de Villeparisis. Przypadek zrządził, że miejsce, w którym przystanąłem dla przyjrzenia się resztkom fresków, znajdowało się tuż za marmurową ścianką przepierzenia na tyłach stolika, przy którym pani de Villeparisis zasiadła.

— W takim razie i pan de Villeparisis zaraz nadejdzie. Jak są tu od miesiąca, raz tylko jedli osobno — powiedział kelner.

Zaczynałem się zastanawiać, którego to z krewnych, towarzyszącego jej w podróży, nazywają tu panem de Villeparisis, gdy po krótkiej chwili ujrzałem, jak zbliża się i siada obok niej przy stoliku jej długoletni kochanek, pan de Norpois. Podeszły wiek pozbawił jego głos dźwięczności, ale za to język, dawniej powściągliwy, teraz stał się zgoła niewyparzony. Należałoby może szukać przyczyny w jego wielkich ambicjach, na których spełnienie zostało tak niewiele czasu i którymi unosił się tym zapalczywiej; albo też w życiu, jakie prowadził, odsunięty na margines wielkiej polityki, wyskakując ze skóry, by do niej powrócić, i wierząc z całą naiwnością marzyciela, że wystarczy poddać miażdżącej krytyce posunięcia osób, których miejsce chciałby zająć, a wkrótce zwolnią się posady. Podobnie niejeden polityk sądzi, że rząd, do którego on sam nie został wciągnięty, upadnie w ciągu paru dni. Przesadą byłoby twierdzić, że pan de Norpois całkiem zatracił zdolność posługiwania się językiem dyplomacji. Kiedy chodziło o sprawy „najwyższej wagi”, natychmiast — jak się wkrótce okaże — odzywał się w nim ten sam człowiek, któregośmy znali kiedyś; lecz poza tymi momentami bez przerwy wylewał żółć na tego i na tamtego, zapamiętały w starym rozdrażnieniu jak osiemdziesięcioletek, który ściga kobiety swoim gniewem, bo sam nic już dla nich nie znaczy.

Pani de Villeparisis pograżyła się na parę chwil w swym milczeniu starej kobiety zmęczonej życiem, której z trudem przychodzi porzucić na chwilę wspomnienia i pokonać stromiznę wiodącą ku teraźniejszości, po czym zadała mu kilka praktycznych pytań, pozwalających wyrobić sobie wyobrażenie, od jak dawna oboje trwają w tym związku.

— Wstąpiłeś do Salviatiego?

— Tak.

— Czy jutro przysłą puchar?

— Wołałem sam go przynieść. Pokażę ci go po obiedzie. Zajrzyjmy do karty.

— Zleciłeś coś maklerowi w sprawie moich Suezów?

— Nie. Popyt ogranicza się teraz do spółek naftowych, ta branża właśnie się odbiła od dna. Akcje Royal Dutch jak dotąd zdrożały o niespełna trzy tysiące franków. A przewiduje się, że dojdą do czterdziestu tysięcy. Myślę, że nie byłoby rozsądnie czekać ze sprzedażą aż do tego momentu. Ale teraz nie potrzeba się śpieszyć, bo tendencje rynku wydają

się nadzwyczaj obiecujące.<sup>1442</sup> No, co tam w karcie? Jako *entrée* mają barwenę. Może weźmiemy?

— Ja chętnie, ale tobie zaszkodzi. Już lepiej zamów risotto. Tylko że tutaj nie potrafią go przyrządzić należycie.

— To nic. Kelner! Na początek barwena dla pani, dla mnie risotto.

Znów nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

— Przyniosłem ci gazety. „Corriere della Sera”, „Gazzetta del Popolo”, i tak dalej. Wyobraź sobie, że zaczyna się mówić o zmianach personalnych w dyplomacji, a pierwszy miałby wylecieć Paléologue, który się w Serbii popisuje notoryczną nieudolnością. Podobno ma go zastąpić Lozé. W takim razie powstałby wakat w Konstantynopolu. Ale — pośpieszył dorzucić cierpkim tonem pan de Norpois — gdy chodzi o ambasadę o takim znaczeniu, i to w dodatku w kraju gdzie oczywiste jest, że cokolwiek się wydarzy, Wielka Brytania musi zająć główne miejsce przy stole rokowań, rozsądniej byłoby, myśląc o nominacjach, zwrócić się do ludzi doświadczonych, którzy wobec ewentualnych prowokacji nieprzyjaciół naszego brytyjskiego sojusznika potrafią się znaleźć lepiej niż ci dyplomaci nowego chowu, polykający bez zastanowienia każdy haczyk. — Gniewną emfazę, z jaką pan de Norpois wyrzucił z siebie te ostatnie słowa, wywołały przede wszystkim dzienniki, które wbrew instrukcjom, jakich im udzielił, by jego nazwisko podawać jako „najlepszą kandydaturę”, nabrały na jego temat wody w usta, za to natrętnie wymieniały jednego z młodych dyplomatów. — Bóg świadkiem, że ludzi dojrzałych odsuwa się od stanowisk z pomocą jakichś podejranych machinacji, by na ich miejsce mianować mniej lub bardziej nieudolnych nowicjuszy! Spotkałem wielu tych pożałuj Boże dyplomatów, zwolenników metody eksperymentalnej, zawsze gotowych zdać się na los i wypuścić balon próbny, który musiałem sam czym prędzej przekłuwać. Jedno jest pewne, jeśli ten rząd jest tak szalony, że chce oddać stery państwowej nawy w nieodpowiedzialne ręce, zawsze się znajdzie jakiś cymbał, który stawi się na wezwanie. Ale kto wie... — i tu pan de Norpois przybrał tajemniczą minę człowieka, który kogoś określonego ma na myśli — ...czy równie ochoczo nie stawiliby się na wezwanie stary wiarus, któremu nie brak doświadczenia i zapału? Według mnie (każdy ma prawo do własnego sądu) należy wstrzymać się z wysyłaniem ambasadora do Konstantynopola, póki nie wyjdziemy z impasu w stosunkach z Niemcami. Nie mamy zobowiązań wobec nikogo, i jest rzeczą niedopuszczalną, by co pół roku zmuszano nas podstępnie i wbrew naszej woli do składania nie wiem jakich deklaracji, które nagłaśnia sprzedajna prasa. To się musi wreszcie skończyć i oczywiste jest, że tylko człowiek wielkiej prawości i wielkiego doświadczenia, cieszący się, że tak powiem, zaufaniem cesarza Wilhelma, dysponowałby odpowiednim autorytetem, by położyć kres konfliktom.

Jakiś pan, kończąc już obiad, ukłonił się panu de Norpois.

— Toż to ksiązę Foggi — powiedział margrabia.

— Nawet nie jestem pewna, czy wiem, kogo masz na myśli — westchnęła pani de Villeparisis.

— Ależ to on, bez wątpienia. Ksiązę Odon. Jest szwagrem twojej kuzynki Doudeauville. Opowiadałem ci o nim, polowaliśmy razem w Bonnétable.

— Ach, tak. Odon to był ten, który malował?

— Skądże. Tamten ożenił się z siostrą wielkiego księcia N.

Pan de Norpois mówił to cierpkim tonem starego belfra, który nie jest rad z postępów uczennicy, a spojrzenie jego niebieskich oczu spoczywało całym swym ciężarem na pani de Villeparisis.

Ksiązę dopił kawę i wstał od stołu. Pan de Norpois także się zerwał, ruszył energicznie w jego stronę, złożył mu pełen godności ukłon, a potem odsunął się z lekka na bok, by przedstawić go pani de Villeparisis. Ksiązę przystanął przy ich stoliku, a pan de Norpois ani na chwilę nie spuszczał z margrabiny błękitnego oka, dumnego, lecz krytycznego spojrzenia, w którym przede wszystkim wyrażała się obawa, by margrabina za chwilę nie popełniła znów któregoś ze swoich słynnych lapsusów; bawiły go, ale i wprawiały w zakłopotanie. Gdy tylko użyła wobec księcia jakiegoś niewłaściwego słowa, pan de Norpois

<sup>1442</sup>ta branża właśnie się odbiła od dna (...) tendencje rynku wydają się nadzwyczaj obiecujące — fragment o gieldzie, od „ta branża”, pominięty w wydaniach polskich. [przypis tłumacza]

zaraz ją poprawiał, wpijając się swym hipnotycznym spojrzeniem w zgaszone, pokorne oczy margrabin.

Podszedł kelner, by mi powiedzieć, że matka mnie oczekuje. Odnalazłem ją i przeprosiłem panią Sazerat, wyjaśniając, że zatrzymał mnie widok margrabin de Villeparisis. Na dźwięk tego nazwiska pani Sazerat pobladła; wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Zdołała się jednak opanować i spytała:

— De Villeparisis, z domu de Bouillon?

— Tak.

— Czy mogłabym popatrzeć na nią przez chwilę? To marzenie mojego życia.

— Więc proszę nie zwlekać, bo zdaje się, że zaraz skończy obiad. Ale co w niej aż tak ciekawego?

— Toż to właśnie pani de Villeparisis, z pierwszego męża księżna d'Havré, piękna jak anioł, przewrotna jak szatan, doprowadziła mojego ojca do szaleństwa, zrujnowała go i nie oglądając się, porzuciła. Choć postąpiła z nim jak ostatnia zdzira i przez nią musiałam razem z całą rodziną cierpieć niedostatek w Combray, teraz, kiedy ojciec już nie żyje, pocieszam się, że kochał najpiękniejszą kobietę swoich czasów. Nigdy jej nie widziałam, a mimo wszystko sprawiłoby mi to wielką przyjemność...

Poprowadziłem drżącą z emocji panią Sazerat do głównej sali restauracyjnej i wskazałem jej panią de Villeparisis.

Lecz spojrzenie pani Sazerat, zupełnie jakby dotknęła ją ślepotą, prześlizgiwało się obok stolika, przy którym margrabina jadła obiad, i odpływało w inną stronę, szukając gdzie popadnie jakiegoś punktu zaczepienia.

— Chyba już odeszła, nie widzę jej tam, gdzie pan pokazuje.

— Ależ tutaj, przy drugim stoliku.

— Bo chyba nie liczymy tak samo. Ja policzyłam jako drugi tamten stolik, przy którym siedzi ze starszym panem jakaś chuda garbuska, cała czerwona, odrażająca.

— To właśnie ona.

Wtedy to, na życzenie pani de Villeparisis, pan de Norpois zaprosił księcia Foggi, by usiadł przy ich stoliku. Wywiązała się między nimi ciekawa rozmowa. Mówili o polityce. Książę oświadczył, że nic go nie obchodzi los rządu i zamierza zostać w Wenecji jeszcze przynajmniej przez tydzień. Wyrzucił nadzieję, że do tego czasu kryzys rządowy zostanie zażegnany. Z początku książę sądził, że polityka nie interesuje pana de Norpois, ten bowiem, choć przedtem wypowiadał się z wielką swadą, nagle pograżył się w milczeniu tchnącym spokojem niemalże anielskim, i miało się wrażenie, że gdyby odzyskał głos, to usłyszelibyśmy z jego ust którąś z niewinnych, melodyjnych pieśni Mendelssohna albo Césara Francka. Księżu wydawało się nawet, że przyczyną tego milczenia była powściągliwość: że pan de Norpois jako Francuz nie chciał się w obecności Włocha wypowiadać o problemach włoskich. A jednak książę mylił się całkowicie. Milczenie i pozory obojętności nie oznaczały u pana de Norpois rezerwy, przeciwnie, było to właśnie preludium, jakim zwykł poprzedzać każdą swoją wypowiedź w sprawach najwyższej wagi. Jego ambicja domagała się placówki w Konstytucyjnym Sejmie po uprzednim uporządkowaniu kwestii niemieckiej, czego miał nadzieję dokonać, wymusiwszy poparcie ze strony rządu włoskiego. Sądził, że podobne osiągnięcie o międzynarodowym znaczeniu byłoby godnym zwieńczeniem jego kariery, a może i zapowiedzią nowych zaszczytów, nowych wyzwań, których wcale się jeszcze nie wyrzekł. Podeszły wiek zrazu niweczy w nas bowiem tylko zdolność do czynu, a nie ochotę gotowości. Ludzie, którzy dożyli zgrzybiałej starości, dopiero w tym ostatnim okresie życia porzucają pragnienia, tak jak wcześniej wyrzekli się działań. Wówczas nawet ci, którzy z nadzieją uczestniczyli w podobnie jałowych przedsięwzięciach, jak wybory prezydenckie, już do nich więcej nie stają. Chcą tylko jeść, spacerować, czytać gazety, chcą jeszcze przeżyć samych siebie.

Pragnąc ośmielić pana de Norpois i dać mu do zrozumienia, że mówi z nim jak z rodakiem, książę jął rozprawiać o różnych możliwych kandydaturach na fotel premiera. Nowego szefa gabinetu czekały niełatwe zadania. Gdy książę Foggi wymienił już nazwiska ponad dwudziestu polityków, jego zdaniem liczących się w tej grze, a pan de Norpois wysłuchał tej listy, kryjąc błękit oczu pod półprzymkniętą powieką, wreszcie wydał z siebie głos i wypowiedział tych kilka słów, które przez następnych dwadzieścia pięć lat dostarczały tematu do rozmów w kręgach polityków, a gdy w końcu wydawało się, że zostały

zapomniane, wydobywał je znów na światło dzienne osobnik podpisujący się „Poinformowany”, „Świadek” albo „Machiavelli” w jednej z gazet, dla których właśnie niepamięć, jaka pochłonęła już słowa pana de Norpois, nadawała im walor sensacji. Toteż gdy książę Foggi skończył wyliczać nazwiska milczącemu jak niemowa, zastygłemu w bezruchu eks-ambasadorowi, pan de Norpois z lekka uniósł głowę i tym samym tonem, którego używał w swoich najbardziej brzemiennych w skutki wystąpieniach politycznych, tyle że pozwalając sobie teraz na więcej odwagi i dosłowności, zadał błyskotliwe pytanie:

— A pan Giolitti, czy nikt nie wymienił jego nazwiska?

Na te słowa łuski spadły z oczu księcia Foggi, a jego uszy posłyszały muzykę sfer. A po chwili pan de Norpois zaczął mówić o czym innym, nawet nieco zbyt hałaśliwie, jak to bywa po koncercie, gdy wybrzmiała ostatnia nuta podniosłej arii Bacha i publiczność może wreszcie głośno rozmawiać, udając się do szatni po okrycia. Dał nawet niedwuznacznie do zrozumienia, że występ zakończony, prosząc księcia, by złożył wyrazy jego oddania u stóp Ich Wysokości Króla i Królowej, gdy będzie im składał wizytę, co zabrzmiało jak pożegnanie i odpowiadało mniej więcej słowom wykrzykiwanym po koncercie: „Stangret August z ulicy Belloy!” Nie wiemy dokładnie, co sobie pomyślał książę Foggi. Bez wątplenia pozostawał pod wrażeniem tego arcydzieła, które było mu dane usłyszeć: „A pan Giolitti, czy nikt nie wymienił jego nazwiska?” Albowiem pan de Norpois, w którym lata stłumiły i rozprężyły najpiękniejsze cechy osobowości, z wiekiem doszedł za to do perfekcji w tych swoich krótkich „ariach brawurowych”, jak to się zdarza u schyłku życia muzykowi, gdy całkiem już zgasło w nim to wszystko, co stanowiło o dawnej świetności, lecz wtedy właśnie objawiła się absolutna i nie ustająca w rozwoju aż po sam kres jego dni wirtuozeria — na przykład w dziedzinie kameralistyki, w której nigdy przedtem nie zablęsnął.

W każdym razie książę Foggi, który zamierzał spędzić w Wenecji dwa tygodnie, tegoż wieczoru wrócił do Rzymu, a parę dni później został przyjęty przez króla w sprawie posiadłości, które miał — o czym zapewne była już mowa — na Sycylii. Gabinet wegetował jeszcze nadspodziewanie długo. Po jego upadku król podjął rozmowy z przedstawicielami kręgów politycznych, by wyłonić kandydaturę na szefa nowego gabinetu, po czym wezwał do siebie pana Giolitti. Ów przyjął propozycję. Po trzech miesiącach jeden z dzienników opisał spotkanie księcia Foggi z panem de Norpois. Rozmowę przytoczono w tym samym brzmieniu, jedynie zamiast słów „zadał błyskotliwe pytanie”, użyto innych: „powiedział z owym subtelnym i czarującym uśmiechem, który wszyscy znają”. Pan de Norpois uznał, że gdy chodzi o dyplomatę, to słowa „zadał błyskotliwe pytanie” mają wystarczającą siłę oddziaływania i cytowane wyżej rozszerzenie było już raczej nie na miejscu. Zażądał na Quai d’Orsay oficjalnego dementi, ale Quai d’Orsay ugięło się pod nawałem pilniejszych spraw. Po ujawnieniu treści tej rozmowy, pan Barrere po parę razy na godzinę depešował do Paryża, by nikomu nie dać zapomnieć, że przy Kwirynale działa oficjalny ambasador, i donieść przy okazji o powszechnym niezadowoleniu, jakie wzmiankowany fakt wywołał w całej Europie. Była to nieprawda, ale pozostali ambasadorzy okazali się ludźmi zbyt dobrze wychowanymi, by zadać kłam panu Barrere, gdy ten opowiadał o oburzeniu całego świata. Pan Barrere z kolei, zdolny słyszeć tylko własne słowa, brał ich uprzejmie milczenie za głos poparcia. Znowu telegrafował więc do Paryża: „Odbyłem godzinne spotkanie z markizem Visconti-Venosta...” i tak dalej. Jego sekretarze padali z nóg.

Pan de Norpois miał jednak „na każde skinienie” pewną francuską gazetę z tradycjami, która już w roku 1870, kiedy był ambasadorem Francji w jednym z krajów niemieckich, podała mu pomocną dłoń. Gazeta owa (zwłaszcza zaś artykuły wstępne) redagowana była z godną podziwu starannością. Tym bardziej znaczące bywały niedociągnięcia w tekście publikowanym na pierwszej stronie (zwanym w owych zamierzonych czasach „czołówką”, a dziś, nie wiedzieć czemu, „artykułem redakcyjnym”), różne powtórzenia, niezręczne sformułowania, które budziły dreszczyk emocji, wskazując, że nie obeszło się tu bez jakiejś „inspiracji”: pana de Norpois lub innej osobistości, przeżywającej właśnie swoje pięć minut. By dać czytelnikowi pewne wyobrażenie o wydarzeniach włoskich, pokażmy, w jaki sposób pan de Norpois posłużył się tym pismem w roku 1870, na próżno, można by rzec, skoro wojna i tak wybuchła; z wielkim pożytkiem, zdaniem pana de Norpois, którego pierwszą zasadą było zadbać o właściwe nastawienie opinii publicznej.



W swoich artykułach ważył każde słowo, a w rezultacie przypominały one te optymistyczne komunikaty bezpośrednio poprzedzające śmierć chorego. Na przykład: w roku 1870, w przededniu wypowiedzenia wojny, kiedy mobilizacja została już prawie zakończona, pan de Norpois (pozostający, ma się rozumieć, w cieniu) uznał za stosowne posłać do tego słynnego dziennika taki artykuł na pierwszą stronę:

„W kołach miarodajnych zdaje się przeważać opinia, że od wczesnych godzin popołudniowych dnia wczorajszego sytuacja, na razie z pewnością nie dająca powodów do alarmu, powinna jednak zostać uznana za nadzwyczaj poważną, a z pewnego punktu widzenia nawet krytyczną. Margrabia de Norpois spotykał się kilkakrotnie z ambasadorem pruskim w celu rozważenia w duchu stanowczym i rzeczowym, zarazem z intencją pojednawczą, różnych przyczyn zaistniałego konfliktu. Niestety aż do chwili oddania bieżącego numeru do druku nie dotarła do nas wiadomość, czy próba zażegnania konfliktu na drodze dyplomatycznej doprowadziła do ogłoszenia wspólnego komunikatu.

Z ostatniej chwili: Koła dobrze poinformowane przyjęły z zadowoleniem nieznaczne odprężenie, jakie nastąpiło w stosunkach francusko-pruskich. Szczególną wagę miałby mieć fakt spotkania na Unter den Linden pana de Norpois z ambasadorem Anglii, trwającego około dwudziestu minut. W tutejszych kołach politycznych wiadomość ta została oceniona jako zadowalająca (*befriedigend*)”.

A nazajutrz artykuł wstępny głosił:

„Mimo zręczności pana de Norpois, zasypywanego z wszystkich stron wyrazami uznania za energiczne kroki w obronie żywotnych interesów Francji, zerwanie stosunków dwustronnych w chwili obecnej może wydawać się poniekąd nieuniknione”.

Dziennik nie oparł się pokusie opatrzenia takiego artykułu wstępnego paroma komentarzami, nadesłanymi, rzecz jasna, przez pana de Norpois. Czytelnik miał już okazję zauważyć, że w dyplomatycznych wypowiedziach ambasadora tryb warunkowy należał do ulubionych form gramatycznych. („Szczególne znaczenie miałby mieć fakt spotkania...” zamiast „Szczególne znaczenie przywiązuje się...”.) Równie drogi był mu tryb oznajmujący, używany nie tak, jak to jest w zwyczaju, lecz raczej w miejsce zapomnianego optatywu. A tak oto brzmiał komentarz następujący po artykule:

„Społeczeństwo nasze daje dowody niezwyklego opanowania. (Pan de Norpois życzyłby sobie, żeby to było prawdą, ale obawiał się, że nią nie jest). Niejasna sytuacja obecna dała mu się we znaki, toteż z zadowoleniem przyjęło zapewnienie, że rząd Jego Cesarskiej Mości uczyni co w jego mocy, by podjąć wszelkie decyzje, jakich może wymagać dalszy rozwój wydarzeń. Społeczeństwo nie oczekuje (optativus!) niczego więcej. Nie traci zimnej krwi, co już jest zapowiedzią triumfu. Dorzućmy tu jeszcze wiadomość mogącą uspokoić opinię publiczną, gdyby zachodziła taka potrzeba: nasze źródła donoszą, że pan de Norpois, który ze względów zdrowotnych od dłuższego czasu zamierzał odbyć w Paryżu krótką kurację, opuścił właśnie Berlin, uznając swoją dalszą tam obecność za zbyteczną.

Z ostatniej chwili: Jego Cesarska Wysokość opuścił dziś rano Compiègne i udał się do Paryża, gdzie odbył konferencję z margrabią de Norpois, ministrem wojny i marszałkiem Bazaine'em, w którym opinia publiczna pokłada szczególne zaufanie. Jego Cesarska Wysokość odwołał obiad, który miał wydać na cześć swojej szwagierki księżnej d'Alba. Decyzja ta, od razu po jej ogłoszeniu, spotkała się z powszechnym zrozumieniem. Cesarz dokonał przeglądu wojsk, ogarniętych nieopisanym entuzjazmem. Na rozkaz wydany bezpośrednio po przyjeździe pary cesarskiej do Paryża, część oddziałów pozostaje w gotowości do wymarszu w kierunku Renu, gdyby zaszła taka konieczność”.

O zmierzchu, kiedy wracałem do hotelu, czułem nieraz, że Albertyna z dawnych czasów, dla mnie samego niewidzialna, tkwi uwięziona w lochach mojej wewnętrznej Wenecji. Czasem nagle wstrząs, wywołany jakimś wydarzeniem, przesuwiał ciężką kłapę włazu i powstawała szpara, przez którą mogłem spoglądać w przeszłość.

Tak oto pewnego wieczoru list od mojego agenta giełdowego otworzył wrota więzienia, w którym Albertyna żyła nadal, choć tak daleko i tak głęboko, że dla mnie nieosiągalna. Po jej śmierci zaniedbywałem spekulacje podjęte kiedyś z myślą o pomnożeniu

pieniędzy, których potrzebowałem ze względu na nią. Lecz oto zmieniły się czasy, a niewzruszone pewniki minionej epoki obaliła ta nowa, podobnie jak kiedyś twierdzenia pana Thiersa, że kolej żelazna się nie przyjmie: najmocniej zniżkowały właśnie te papiery, o których pan de Norpois mówił nam kiedyś: „Może nie gwarantują nadzwyczajnych zysków, ale przynajmniej dają pewność, że kapitał nie stopnieje”. Na samych obligacjach rządu angielskiego i akcjach kompanii naftowych ponosiłem olbrzymie straty, płacąc jednocześnie procent i koszta transakcji prolongacyjnych, aż w odruchu zniecierpliwienia postanowiłem sprzedać wszystko, i wtedy okazało się, że ze spadku po babce została mi ledwie piąta część tego, co miałem jeszcze za życia Albertyny. Wieść o rozmiarach moich strat dotarła do Combray; znajomi i krewni, którzy słyszeli coś o tym, że utrzymuję stosunki towarzyskie z margrabią de Saint-Loup i z Guermantami, skwitowali ją tymi słowami: „Oto do czego prowadzi megalomania”. Byliby bardzo zdziwieni, gdyby ktoś im powiedział, że gdy rzuciłem swój majątek na szalę, uczyniłem to dla młodej osoby bez żadnej pozycji, niemalże protegowanej Vinteuila, dawnego nauczyciela mojej babki, która w młodości brała u niego lekcje gry na fortepianie. Zresztą w Combray — gdzie podług wysokości rocznego dochodu, znanej całemu miastu, wszyscy zostali raz na zawsze zaliczeni do odpowiedniej kategorii, zamkniętej niczym hinduska kasta — nikt nie zdołałby nawet wyobrazić sobie tej nonszalancji, z jaką w świecie Guermantów lekceważono różnice majątkowe; ubóstwo uchodziło tam za przypadłość niemilą, ale nie dyskredytującą nikogo i nie mającą większego związku z sytuacją towarzyską niż na przykład dolegliwości żołądkowe. Mieszkańcy Combray sądzili zapewne, że Saint-Loup i pani de Guermantes to zrujnowana arystokracja, która tkwi po uszy w długach, obciążających hipoteki rodowych zamków, i pożyczka ode mnie pieniądze — choć było wprost przeciwnie: gdybym popadł w długi, oni pierwsi zaproponowaliby mi pomoc, której nie chciałbym zresztą przyjąć. Co się zaś tyczy mojej rzekomej ruiny, przejąłem się nią głównie dlatego, że moje tutejsze pasje zogniskowały się w końcu na pewnej młodej sprzedawczyni weneckiego szkła, dziewczynie o cerze jak płatek róży, zachwycającej bogactwem brzoskwiniowych odcieni; wzbudziła we mnie taką żądzę widywania jej co dzień, że gdy już miałem wraz z matką na dniach opuścić Wenecję, myślałem tylko o tym, jak tę dziewczynę urządzić w Paryżu, bym nie musiał się z nią rozstawać. Uroda jej siedemnastu lat była tak szlachetna i promienna, że patrzyłem na nią niczym na płótno Tycjana, z którego kupnem trzeba koniecznie zdążyć przed wyjazdem. Ale czy resztki majątku, jakie mi pozostały, wystarczą teraz, by ją zwabić do Paryża, skłonić, by opuściła swój kraj ojczysty dla mnie jednego?

Tymczasem, kończąc czytać list od mojego maklera, zatrzymałem wzrok na tym oto zdaniu: „Będę miał w opiece pańskie opcje” — dopatrzyłem się w nim interesownej obłudy podobnej do tej, z jaką łaziebna z Balbec mówiła Aimému, że brała Albertynę „pod opiekę”. Od tych słów, których nigdy dotąd nie wspomniałem, zadrżały teraz i rozstąpiły się wrota — nie Sezamu, lecz lochu. Na chwilę jedynie, by znów się zatrasnąć i ukryć żywcem zamurowaną, wobec której byłem bez winy, nawet jeśli już nie pragnąłem jej odzyskać: przecież nie mogłem jej sobie nawet przypomnieć. Ludzie istnieją dla nas tylko przez obrazy, jakie pozostawili w naszym umyśle. W owej chwili, kiedy ujrzałem ją opuszczoną, w zapomnieniu, którego już nawet nie była świadoma, wydała mi się bardziej niż kiedykolwiek wzruszająca, i przez mgnienie oka zatęskniłem za owym utraconym czasem, kiedy to dniem i nocą samym swym trwaniem w mojej pamięci nieustająco zadawała mi ból. Innego dnia w San Giorgio dei Schiavoni obok postaci jednego z apostołów zobaczyłem orla o stylizowanych kształtach i ożyło we mnie wspomnienie cierpień, jakich doznawałem z powodu tamtych dwóch pierścionków, których podobieństwo odkryła przede mną Franciszka, lecz nigdy nie dowiedziałem się, kto podarował je Albertynie.

Ale innego dnia zdarzyła się rzecz, która na dobrą sprawę powinna by rozpałcić moją miłość na nowo. Gdy nasza gondola przybiła do hotelowych schodów, portier wręczył mi depeszę, z którą z kompanii telegraficznej przychodzili już trzy razy, chcąc pisemnego potwierdzenia odbioru, a to z powodu błędów w nazwisku adresata (rozpoznałem w nim swoje własne nazwisko, choć całkiem zniekształcone przez włoskiego telegrafistę). Otworzyłem depeszę, kiedy tylko znalazłem się w swoim pokoju, i rzuciłem okiem na jej treść. Roilo się w niej od przekreślonych słów. Mimo wszystko byłem w stanie ją odczytać:

„Drogi Przyjacielu, od dawna nie dałam znaku życia. Proszę o przebaczenie. Żyję jak najbardziej, zamierzam Cię odwiedzić i pomówić o planach małżeńskich, chciałabym wiedzieć, kiedy wracasz? Z serdecznymi pozdrowieniami, Albertyna”.

Nastąpiło wówczas, choć w odwrotnym porządku, to samo, co po śmierci babki: kiedy się dowiedziałem, że umarła, nie czułem jeszcze smutku. I jej śmierć nie zaboląla mnie naprawdę, dopóki babka nie powróciła żywa we wspomnieniach. A teraz, kiedy Albertyna umarła już nawet w mojej pamięci, wiadomość, że jednak żyje, nie wzbudziła we mnie radości, jakiej można by oczekiwać. Albertyna była już tylko garstką moich myśli: w takim jedynie stopniu przetrwała swą fizyczną śmierć, w jakim te myśli nadal żyły we mnie. Teraz zaś, kiedy i one już umarły, nawet niespodziewane zmartwychwstanie nie mogło przywrócić jej życia.

I kiedy zauważyłem, jak mało jest we mnie radości na wieść, że ona żyje, pojąłem, że jej nie kocham. I byłem tym wstrząśnięty nie mniej niż ktoś, kto po chorobie albo po długiej podróży spostrzeża, że ma siwą głowę i pobrużdżoną twarz człowieka przedwcześnie dojrzałego albo starca. Przeraża go ona, znaczy bowiem tyle: „Jasnowłosego młodzieńca, którym byłem, już nie ma, stałem się kimś innym”. Czy przemiana może być głębsza, śmierć naszego dawnego ja równie nieodwracalna, rządy zaś nowego, które zajęło jego miejsce, bardziej bezwzględne, niż kiedy naszą dawną twarz zastąpi pomarszczona maska, a nad nią bieleją cudze włosy? Ale nikt nie popada w przygnębienie z powodu takiej przemiany, jeśli przyniosły ją lata upływające w zgodzie z porządkiem rzeczy, podobnie jak nie martwi nas, że bywamy na przemian, dzień po dniu, istotami tak różnymi, przeczącymi sobie nawzajem: grubianinem i nadwrażliwcem, skrupulantem i człowiekiem niedbałym, kimś, kto pragnie sukcesów i tym, któremu na niczym nie zależy. Przyczyna zaś, dla której nas to nie boli, jest zawsze ta sama: nasze liczne ja stają się niewidoczne jak ciała niebieskie, które uległy zaćmieniu na chwilę — albo też na zawsze. W jednym z tych dwu przypadków zmiana dotyczy cech charakteru, w drugim uczuć; ukryte w cieniu ja nie rozpacza z powodu własnej nieobecności, gdy drugie, oświetlone, na krótko, albo też na zawsze, przejmuje całkowitą władzę. Doszedłszy w nas do głosu, arogant każe nam cieszyć się własną arogancją, a zapominalski nie smuci się tym, że zapomniał, skoro nie pamięta.

Nie było w mojej mocy wskrzesić Albertynę, bo przecież nie mógłbym przywrócić życia nawet samemu sobie — swojemu dawnemu ja. Życie, które nie ustając w mrówczej pracy, codziennymi, niezauważalnymi posunięciami zmienia oblicze świata, nazajutrz po śmierci Albertyny nie powiedziało mi wprawdzie wprost: „Stań się teraz kim innym”, ale zapoczątkowało we mnie szereg procesów toczących się tak niepostrzeżenie, że sam nie byłem tego świadom, a mój umysł zdążył przywyknąć do mojego obecnego ja, swojego nowego pana, nim spostrzegł, że coś się zmieniło — i odtąd jego tylko uznawał. Wiemy już, że moja miłość do Albertyny, tak samo jak moja zazdrość, potrzebowała do życia tego promieniowania, które wysyłały ogniska miłych, albo też bolesnych, wspomnień, podsypane przez skojarzenia. Żywiła się wspomnieniem panny Vinteuil w Montjouvain i słodyczą wieczornych pocałunków, składanych przez Albertynę na moim karku. Lecz w miarę jak słabła we mnie pamięć tych doznań, rozległe obszary rozmaitych wrażeń, zabarwione odcieniami szczęścia i cierpienia, na powrót oblekały się w nijaką szarość. Skoro tylko niepamięć pochłonęła strategiczne punkty bólu i rozkoszy, złamany został opór mojej miłości, i oto nie kochałem już Albertyny. Usiłowałem przywołać jej wspomnienie. Trafnym okazało się przecucie, które naszło mnie dwa dni po jej ucieczce, gdy zaniepokoiłem się myślą, że zdołałem przeżyć bez niej całe czterdzieści osiem godzin. Czułem się wtedy tak samo jak kiedyś, dawno, gdy pisząc do Gilberty, myślałem sobie: „Jeśli to potrwa ze dwa lata, niechybnie przestanę ją kochać”. Gdy potem Swann zapraszał mnie do złożenia wizyty jego córce, miałem wrażenie, że byłoby to dla mnie równie trudne, jak spotkanie z umarłą; śmierć (albo stan, który uchodził za śmierć) uczyniła z Albertyną to samo, co z Gilbertą dawno temu przedłużające się rozstanie. Śmierć bowiem ma to samo działanie co nieobecność. Zapomnienie, owo monstrum, przed którym drżała moja miłość, pożarło ją w samej rzeczy, właśnie tak jak się obawiałem. Wiadomość, że Albertyna żyje, nie zdołała wskrzesić mojej miłości, i nie tylko dała mi odczuć, jak daleką drogę już przebyłem, powracając do pierwotnego chłodu uczuć, lecz zgoła przyśpieszyła ów powrót

tak gwałtownie, że zapytywałem sam siebie, czy w swoim czasie wiadomość przeciwnej treści — o śmierci Albertyny — nie spotęgowała sztucznie wstrząsu związanego z jej wyjazdem i czy na powrót nie roznieciła miłości bliskiej już wygaśnięcia. Owszem, wiedziałem, że ona żyje i że mogę zobaczyć ją choćby zaraz, lecz przez to tak gwałtownie straciła w moich oczach na wartości, że zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie insynuacje Franciszki, a potem nagle rozstanie, aż po ową rzekomą śmierć, którą miałem za rzeczywistość, przywróciły moc moim gasnącym uczuciom — tak jak intrygi osób trzecich albo zrządzenia losu zmierzające do rozłączenia nas z kochanką, które nas zazwyczaj jeszcze mocniej z nią wiążą. Ale toczący się teraz proces zmierzał w przeciwnym kierunku. Tak czy inaczej, szukałem jej postaci we wspomnieniach; być może dlatego, że znów mogłem mieć ją dla siebie na każde skinienie, pamięć podsuwała mi tylko obraz dziewczyny raczej korpulentnej, o męskich ruchach i policzkach już nie tak świeżych jak niegdyś; w jej rysach nieuchronnie, z mocą kielkującego ziarna, zaczynał się uwydatniać profil pani Bontemps. Cokolwiek wyczyniała kiedyś z Anną lub z innymi, stało mi się obojętne. Nie czułem już bólu, który przez tak długi czas wydawał mi się nieuleczalny; to w istocie było do przewidzenia. Żal po utracie kochanki albo uporczywie utrzymująca się zazdrość to oczywiście są choroby ciała, tak samo jak gruźlica czy białaczka. Wśród cierpień cielesnych należy jednak odróżniać te wywołane przez czynniki czysto fizyczne od innych, które oddziałują na organizm poprzez umysł. Gdy zaś czynnikiem wpływającym pośrednio na stan zdrowia jest pamięć, pierwotna zaś przyczyna zaburzeń oddaliła się lub uległa unicestwieniu, to choćby ból był najdotkliwszy, a powikłania bardzo poważne, prognoza rzadko bywa niepomysłna, choćby dlatego, że umysł ma w sobie większy potencjał zmian niż tkanki ciała, lub raczej mniejszą niż one zdolność odtwarzania własnej struktury. Tyle czasu, ile go potrzebuje nowotwór, by zabić chorego, wystarcza na ogół do uleczenia bólu niepokieszonego wdowca, zrozpaczonych rodziców. I ja także zostałem uleczony. Czyżby warto mi było — dla tej dziewczyny, którą w wyobrażeniach przed chwilą ujrzałem już zbyt tęgą i postarzałą o tyleż lat, co jej ukochane z dawnych czasów — wyrzec się piękna, zdolnego tchnąć nowe życie w moje wspomnienia, w moje nadzieje? Nie mógłbym dać złamanego grosza dziewczynie z Wenecji ani żadnej innej, gdybym ożenił się z Albertyną. Musiałbym wówczas zapomnieć o tej „nowej Albertynie”, „nie tej, którą znały piekła”, „lecz wiernej, lecz dumnej i po trosze dzikiej”. To ona stała się teraz dla mnie tym, czym niegdyś była Albertyna. To moje własne ubóstwienie młodości przybrało kiedyś przelotnie kształt zachwyty nad Albertyną. Wydaje się nam, że kochamy młodą dziewczynę — ale niestety! — kochać umiemy tylko ten odblask jutrzeńki, kładący się rumieńcem na jej policzkach.

Noc minęła. Rano chciałem oddać depezę portierowi. Powiedziałem mu, że doręczono mi ją przez pomyłkę, bo nie dla mnie była przeznaczona. Odparł, że skoro ją otworzyłem, to lepiej, bym ją zatrzymał, inaczej będzie miał kłopoty. Włożyłem ją zatem do kieszeni, obiecując sobie, że zachowam się tak, jakbym nigdy nie miał jej w ręku. Na dobre przestałem już kochać Albertynę. I oto miłość, która odbiegła tak dalece od wyobrażeń, jakie mogłem o niej powziąć zawczasu, znając dzieje minionej miłości do Gilberty, w końcu zatoczyła koło, przysparzając mi tak wielu cierpień, i musiała poddać się temu samemu co tamta pierwsza prawu ogólnemu, choć tak długo zdawała się wyjątkiem: prawu zapomnienia.

Nie mogłem się nadziwić, że Albertyna, na której kiedyś zależało mi bardziej niż na własnym życiu, teraz nic już dla mnie nie znaczy, i to dlatego jedynie, że przez jakiś czas jej nie widywałem. Moje przywiązanie do życia, od którego nie chciałem zostać odcięty przez śmierć, i do nadziei na pośmiertne zmartwychwstanie, nie było tym samym, co uzależnienie od Albertyny, której także nie chciałem utracić. Tylko pierwsze z tych przywiązań utrzymało bowiem swą władzę nade mną. Czyż nie znaczy to, że miałem się za kogoś ulepionego z cenniejszej gliny niż ona i że kochając ją, w istocie kochałem tylko siebie? Otóż nie. Rzecz sprowadzała się do tego, że nie widując jej, nie mogłem jej nadal kochać, siebie zaś kochać nie przestałem, albowiem moje codzienne związki z samym sobą, inaczej niż tamte, które łączyły mnie z Albertyną, nie zostały zerwane. Lecz gdyby tak się stało? Z pewnością zapomniałbym o własnym ciele, o sobie samym. Całe nasze umiłowanie życia to nic innego, jak tylko trwający od dawna związek, z którego nie po-

trafimy się wyswobodzić. Czas dodaje mu mocy. Dopiero śmierć, która gwałtownie go rozerwie, uleczy nas z pragnienia nieśmiertelności.<sup>1443</sup>

Po śniadaniu, o ile nie wybierałem się na samotną włóczęgę po Wenecji, musiałem wstąpić na górę, żeby się ubrać na wspólny spacer z matką i wziąć zeszyty z notatkami do mojego eseju o Ruskinie.<sup>1444</sup> Poddawałem się wrażeniu, że mury budynku pod brutalnymi ciosami fal wciągnęły do środka swoje narożniki; dawało to odczuć ograniczenia podyktowane przez morze i przypominało, jak skąpe są tu zasoby stałego gruntu. Schodziłem do matki, która już na mnie czekała. Była to ta sama pora, kiedy w Combray można się było napawać jaskrawością słonecznego światła i mrocznym chłodem, w który zamknięte okiennice nie dawały wtargnąć promieniom. Tutaj zaś, na całej długości pysznych marmurowych schodów — po których wyglądzie, jak to bywa na renesansowych obrazach, nie sposób byłoby poznać, czy wznoszą się w pałacowych wnętrzach, czy może w środku wielkiej galery — odczuwało się świeżość bryzy. Blask przenikał z zewnątrz przez płócienną markizę, łopoczącą nad wiecznie otwartymi oknami, przez które płynął ciągły prąd powietrza i sączył się łagodny cień; zielonkawe światło igrało jasnymi plamami na gładkich powierzchniach, imitując lśnienie, płynność i migotliwą zmienność fali. Wybierałem się najczęściej do Św. Marka, z tym większą przyjemnością, że aby tam dotrzeć, trzeba było wziąć gondolę. A sam kościół stawał się dla mnie czymś więcej niż budowlą: widocznym z daleka celem podróży, do którego zmierzałem przez morskie fale w wiosenny poranek; toteż Św. Marek był dla mnie wszystkim tym naraz, niepodzielna i żywa całością. Wchodziłem z matką do baptysterium, stąpaliśmy po marmurowych i szklanych mozaikach posadzki, mając przed oczyma szerokie łuki arkad, których bocznym krawędziom upływ czasu z lekka zaokrąglił kształty, a że uszanował przy tym świeżość różowego kolorytu, nadał wnętrzu w tych partiach nastrój grotty wyrzeźbionej w materii miękkiej i plastycznej niby wosk z jakiegoś przeogromnego plastra. Tam zaś, gdzie twardość substancji ścian, zeskorupałych pod działaniem czasu, podkreśliły ornamenty namalowane złotem przez artystów, wnętrze kościoła wydawało się drogocennym futerałem z kordobańskiej skóry, kryjącym w sobie monumentalną ewangelię Wenecji. Widząc, że zatrzymałem się na dłużej przed mozaiką przedstawiającą chrzest Chrystusa, matka zarzucała mi swój szal na plecy, by mnie osłonić przed chłodem ciągnącym od posadzki baptysterium. Kiedy Albertyna w Balbec mówiła mi o specjalnej przyjemności (w mojej opinii był to czysty wymysł), jaką sprawiłoby jej obejrzenie tego lub innego płótna w moim towarzystwie, sądziłem, że ulega któremuś z tych egzaltowanych wyobrażeń, wypełniających mętne umysły. Dziś jednak wiem już, że podobne radości zdarzają się naprawdę i możemy ich doświadczyć, jeśli nie wtedy, gdy oglądamy dzieło sztuki razem z kimś bliskim, to w każdym razie później, wspominając, żeśmy z nim je widzieli. Dożyłem dnia, kiedy nie jest mi obojętne, że we wspomnieniu mrocznego chłodu baptysterium, fal Jordanu, w których św. Jan zanurza Chrystusa, i gondoli, czekającej w tym czasie przy Piazzecie, stoi obok mnie kobieta spowita w żalobną czernią. W swej żarliwej skromności podobną jest do staruszki z widzianych przez nas w Wenecji obrazów Carpaccia ilustrujących żywot św. Urszuli. Otóż ta kobieta o zaczerwienionych policzkach i smutnych oczach, kryjąc twarz pod czarną woalką, po wieczne czasy zanurzona w łagodnie rozproszonym półmroku sanktuarium Św. Marka, którą odnajdę tam zawsze, ma bowiem swoje stałe miejsce, tak samo jak mozaika pod stopami — ta kobieta to moja matka.

Niewiele brakowało, by pewnego dnia wspomniany tu już Carpaccio, malarz, przy którego obrazach spędzaliśmy najwięcej czasu, gdy nie byłem zajęty u Św. Marka, przywrócił we mnie do życia miłość do Albertyny. Zobaczyłem po raz pierwszy *Ojca di Grando odprawiającego egzorcyzmy nad opętanym*. Patrzyłem na wspaniałe szkarłat i fiolet nieba, w które mierzą wysokie kominy o kształtach rozszerzonych u góry, zwieńczone tulipanową czerwienią i przywodzące na myśl wiele weneckich pejzaży Whistlera. Potem wzrok mój krążył między dawnym drewnianym Rialto i owym Ponte Vecchio z XV stulecia a marmurowymi pałacami lśniącymi złotem kapiteli, powracał ku Canale Grande, ku

<sup>1443</sup> *O zmierzchu, kiedy wracałem do hotelu (...) uleczy nas z pragnienia nieśmiertelności* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1444</sup> *i wziąć zeszyty z notatkami do mojego eseju o Ruskinie* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

barkom prowadzonym przez wyrostków w różowych szatach i czapkach z piórami, którzy do złudzenia przypominali chłopca z zachwycającej *Legendy o Józefie Sert*a, Straussa i Kesslera; ten zaś — wydawało się — zszedł na scenę prosto z obrazu Carpaccia. Nim oddaliłem się, moje spojrzenie powróciło ku nabrzeżu, gdzie w scenach rodzajowych kipiało życie codzienne. Przyglądałem się cyrulikowi, wycierającemu brzytwę, Negrowi dźwigającemu beczkę, Saracenom pogrążonym w rozmowie, wielmożom weneckim w obszernych strojach z brokatu lub adamaszku i aksamitnych wiśniowych czapkach, gdy nagle poczułem uklucie w sercu. Na ramionach jednego z towarzyszy della Calza, których łatwo było rozpoznać po złotych, wyszywanych perłami w emblematy wesołej konfraterni lamówek na rękawach i kołnierzach, ujrzałem nagle płaszcz Albertyny, ten sam, który włożyła, by pojechać ze mną kabrioletem do Wersalu tamtego wieczoru, kiedy nie przezuwałem jeszcze, że od chwili, gdy miała mnie opuścić, dzieli nas zaledwie kilkanaście godzin. Zawsze gotowa — skoro tylko zażyczyłem sobie jechać, narzuciła na ramiona płaszcz od Fortuny'ego w ten smutny dzień, o którym potem napisała w swym ostatnim liście, że nie zapomni „zmięzchu, mrocznego podwójnie, bo wraz z nocą nadciągało nasze rozstanie”. Wyjeżdżając nazajutrz; musiała go ze sobą zabrać, nigdy bowiem nie widziałem tego płaszcza wśród pamiątek, jakie mi po niej zostały. Otóż to właśnie na obrazie Carpaccia utalentowany syn Wenecji zobaczył ten płaszcz, i zdjawszy go z ramion towarzysza della Calza, oddał paryżankom, które z pewnością nie wiedziały, tak jak ja sam nie wiedziałem aż do tamtej chwili, że wzór znajduje się w jednej z sal weneckiej Akademii Sztuki, w grupie patrycjuszki na pierwszym planie *Ojca di Grand*o. Widok zapomnianego już płaszcza wrócił mi spojrzenie i stan ducha mężczyzny, którym byłem w tamten wieczór, kiedy jechałem z Albertyną do Wersalu. Przez kilka chwil targaly mną najgwałtowniejsze porywy tęsknoty i rozpacz, lecz i one ucichły wkrótce, nie pozostawiając śladu.

Czasem nie dość nam było kościołów Wenecji; pewnego wyjątkowo pięknego dnia wyprawilem się z matką aż do Padwy<sup>1445</sup><sup>1446</sup>, gdzie znajdowały się owe *Cnoty* i *Grzechy*, których reprodukcje, zapewne wciąż jeszcze wiszące w moim pokoju do nauki w Combray<sup>1447</sup>, подарował mi kiedyś pan Swann; przemierzywszy zalany słońcem ogród Areny, znalazłem się w kaplicy słynącej z fresków Giotta, o tłach i sklepieniach tak niebieskich, jakby ten promiennie piękny dzień w ślad za mną przestąpił próg, by w cieniu i chłodzie złożyć na chwilę najczystszy błękit swego nieba, prawie nie pociemniały, choć pozbawiony słonecznej pozłoty; taki bywa przez mgnienie oka w najpiękniejszą pogodę, gdy nie widać nigdzie żadnej chmurki i wydaje się, że to tylko słońce przelotnie zwróciło spojrzenie w inną stronę, a kojąca jak przedtem głębia lazuru pociemniała zaledwie o ton. W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem unosiły się anioły, które widziałem po raz pierwszy, pan Swann подарował mi bowiem w reprodukcjach tylko *Cnoty* i *Grzechy*, nie znałem więc fresków przedstawiających historię Marii Panny i Chrystusa. Otóż ów lot aniołów miał w sobie coś z czynności powszednich, praktycznych i bardzo zwyczajnych, coś, co odnajdywałem również w gestach innych postaci, na przykład Miłosierdzia albo Zawisci. Składając drobne dłonie<sup>1448</sup> z wyrazem niezziemskiego lub przynajmniej dziecięcego zachwytu na obliczach, anioły z fresków Giotta wlatywały lekkie niby ptactwo szczególnego rodzaju, które — miałem wrażenie — żyło kiedyś naprawdę i powinno figurować w historii naturalnej czasów Starego i Nowego Testamentu<sup>1449</sup>, zwykło bowiem towarzyszyć świętym, frunąc przed nimi, kiedy się przechadzali.

<sup>1445</sup> Czasem nie dość nam było kościołów Wenecji; pewnego wyjątkowo pięknego dnia wyprawilem się z matką aż do Padwy — w wydaniu Grasseta słowa „W przeddzień wyjazdu” zastąpiły tekst od *Czasem nie dość do aż do Padwy*. [przypis tłumacza]

<sup>1446</sup> Wybierałem się najczęściej do Św. Marka (...) aż do Padwy — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1447</sup> zapewne wciąż jeszcze wiszące w moim pokoju do nauki w Combray — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1448</sup> które widziałem po raz pierwszy (...) Składając drobne dłonie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1449</sup> W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem (...) Starego i Nowego Testamentu — fragment od słów *W niebiosach* jest syntezą tekstu z wydań Grasseta i Gallimarda. Proust przeredagował go i skrócił. W wydaniu Gallimarda brzmiał on tak: „W niebiosach rozpostartych na murze przesyconym błękitem unosiły się anioły, które widziałem po raz pierwszy, pan Swann подарował mi bowiem tylko reprodukcje *Cnoty* i *Grzechy*, nie znałem więc fresków przedstawiających historię Marii Panny i Chrystusa. Otóż ów lot aniołów miał w sobie coś z czynności codziennych, praktycznych i bardzo zwyczajnych, coś, co odnajdywałem również w gestach innych postaci, na przykład Miłosierdzia albo Zawisci. Anioły z fresków Giotta składały drobne dłonie w niezziemskim natchnieniu albo przynajmniej w przypiływie dziecięcego zapалу i pilności, lecz jako ptactwo

Wśród tych stworzeń zawsze musiało się znaleźć kilka szczególnie zwrotnych, a ponieważ obdarzone były najprawdziwszą zdolnością lotu, widać było, jak się wznoszą wysoko i z wielką wprawą kreslą na niebie pętle, wykonują brawurowe loopingi, pikują głową w dół i z łopotem skrzydeł zatrzymują się tuż nad ziemią w pełnym rozpędzie, przecząc prawu ciężenia; istotnie mogły przypominać raczej jakiś nieznaną gatunek zoologiczny, albo też młodych elewów Foncka, ćwiczących lot ślizgowy, niż anioły malarstwa renesansu i epok późniejszych, noszące skrzydła jedynie jako umowny znak, a w swych pozach niczym się nie różniące od pozostałych, bezskrzydłych istot niebiańskich.

Po powrocie do hotelu natykałem się na młode kobiety, przeważnie Austriaczki, przybyłe do Wenecji, by w niej spędzić pierwsze piękne dni tutejszej wiosny, obywatelki się bez kwiatów. Podobała mi się zwłaszcza jedna z nich, która z pozoru nie przypominała wcale Albertyny, ja jednak rozpoznałem znajomą świeżość cery i lekkość roześmianego spojrzenia. Wkrótce spostrzegłem się, że przemawiam do niej tym samym językiem, co do Albertyny na początku znajomości, i że ukrywam przed nią ten sam co niegdyś ból, gdy mówiła mi, że nazajutrz się nie spotkamy, bo jedzie do Werony, a we mnie budziło się gwałtowne pragnienie, by jechać tam za nią. To trwało niedługo, wkrótce miała wracać do Austrii, wiedziałem, że więcej jej nie zobaczę, lecz mimo to ogarniało mnie coś w rodzaju zazdrości, jak zwykle, gdy zaczynamy być zakochani, i przyglądając się jej uroczej i nieprzeniknionej twarzy zadawałem sobie pytanie, czy ona także lubi kobiety i czy to, co miała w sobie z Albertyny — owa jasność cery i spojrzenia, ów wyraz pełnej wdzięku prostoty, którą podbijała wszystkie serca — było raczej oznaką niechęci do ferowania ocen, do wnikania w sprawy innych ludzi, których poczynania pozostawiały ją obojętną, niż szczerości co do własnych zamiarów, wprost przeciwnie, ukrywanych, i to za pomocą najbardziej dziecinnych kłamstw — czy wszystko to nie składało się na zewnętrzną charakterystykę kobiet, które lubią kobiety? Czyż nie to właśnie mnie w niej pociągało, czyż nie to stanowiło dla mnie o jej uroku, któremu ulegałem bezwiednie, i budziło we mnie niepokoje (oto być może głębsza przyczyna łatwości, z jaką lgniemy do tych, którzy przysporzą nam cierpień), czy nie stąd płynęła owa rozkosz pomieszana ze smutkiem, która mnie ogarniała na jej widok, zdradliwa niczym niewidoczne dla oka cząstki magnetyczne, obecne w atmosferze pewnych okolic i zdolne przyprawić nas o chorobę? Niestety, nie było mi pisane zaspokoić ciekawości. Gdy próbowałem czytać w jej twarzy, korciło mnie, by powiedzieć: „Powinna mi pani wszystko wyznać, jestem tym zainteresowany ze względu na moje dociekania z dziedziny historii naturalnej”, lecz ona i tak za nic nie udzieliłaby odpowiedzi. Zdawała się żywić szczególną odrazę do wszystkiego, co kojarzyło się z tym zboczeniem, a do swych koleżanek odnosiła się z chłodną powściągliwością. Samo w sobie mogło to już wskazywać, że chce coś ukryć — albo że ktoś ją kiedyś wyśmiał i poniżył z podobnego powodu, i że ten sposób bycia przybrała naumyślnie, by nie narażać się więcej na przykrości — na tej samej zasadzie nieufność zwierzęcia wobec ludzi może świadczyć o tym, że było przez nich bite. Wiedza o jej życiu była mi niedostępna: ileż czasu musiało upłynąć, nim dowiedziałem się czegoś o Albertynie! Trzeba było dopiero jej śmierci, by rozwiązały się języki, tak wielką przezorność zachowywała w swych poczynaniach, a przecież ta młoda kobieta była do niej podobna! I czy w końcu naprawdę dowiedziałem się o Albertynie czegokolwiek pewnego? Poza tym osiągnięte w życiu upragnione możliwości okazują się nieprzydatne, jeśli przemieniła miłość do kogoś, dla kogo, świadomie lub nie, podjęliśmy wysiłki, by polepszyć własną sytuację, być bliżej i bardziej się podobać. Tak samo przemijają różne fascynacje naszego umysłu. Zadawałem sobie pytania o rodzaj pragnień, wywołujących rumieniec na tych policzkach delikatnych niczym płatki kwiatu, pragnień, których nie ujawniało spojrzenie jasne bezsłoneczną jasnością przedświt, pamiętające dni, o których ona nic mi nie powie. Ale moje pytania traciły znaczenie z chwilą, gdy opuszczała mnie miłość do Albertyny, gdy przestawałem kochać nieznaną.<sup>1450</sup>

szczególnego rodzaju, który kiedyś istniał rzeczywiście, powinny figurować w historii naturalnej czasów Starożytności i Nowego Testamentu. To właśnie one zwykły towarzyszyć świętym, płynąc przed nimi (...). [przypis tłumacza]

<sup>1450</sup>Po powrocie do hotelu natykałem się na młode kobiety (...) przestawałem kochać nieznaną — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

Wieczorami wyruszałem samotnie w samo serce zakłętego miasta, by błądzić po jego ulicach niczym postać z *Tysiąca i jednej nocy*. Rzadko się zdarzało, bym podczas tych wypraw nie odkrył na przykład jakiegoś dużego placu, o którym milczały wszystkie bedekery i nie wspominał żaden podróżnik.

Czułem się wplątywany w ciasną sieć wąskich uliczek i kanałów. Gąszcz kominów rozszerzających się w górnej części, którą za dnia słońce powleka najżywszymi odcieniami czerwieni i różu, był jak kwitnący ogród rozpostarty wysoko, ponad miejskimi dachami, i należący, chciałoby się pomyśleć, do jakiegoś miłośnika tulipanów z Haarlemu albo Delft. A w niewyobrażalnej ciasnocie, w jakiej tłoczyły się te domy, futryna każdego okna zdawała się ramą obrazu, przedstawiającego to kucharkę o powłóczystym spojrzeniu, to znów młodą dziewczynę, dającą rozczesywać swe włosy starej wiedźmie, której twarzy skrytej w mroku wnętrza musiałem się po części domyślać.<sup>1451</sup> Rozwidlające się we wszystkich kierunkach zaułki i *calli* cięły na wąskie skrawki ten zakątek Wenecji, wciśnięty między kanał a lagunę; na owej misternej siatce niezliczonych delikatnych linii osadzała się w procesie krystalizacji substancja zabudowy. Nagle u wylotu którejś z tych wąskich uliczek dostrzegałem jakby znaczniejsze skupisko krystalicznej materii. Okazało, przepyszne *campo*, którego skali ani położenia nigdy bym nie odgadł wśród płataniny zaułków, rozpościęrało się tuż przed moimi oczyma, w otoczeniu urzekająco pięknych pałaców, zalane bladym światłem księżyca. Był to jeden z kompleksów architektonicznych takiej miary, że w każdym innym mieście wszystkie ulice zbiegałyby się ku niemu, wskazując drogę. Tu jednak wydawał się ukryty naumyślnie w labiryncie zaułków, niczym pałac arabskiego księcia, do którego bohater wschodniej opowieści przybywa nocą śladem przewodnika, potem zaś, za dnia, na próżno szukając zaczarowanej budowli, dochodzi do wniosku, że widział ją tylko we śnie.

Nazajutrz wyruszyłem na poszukiwanie pięknego placu, który ukazał mi się nocą. Przemierzałem *calli* ludzaco podobne do siebie, uparcie odmawiające mi jakichkolwiek wskazówek prócz tych, które miały na celu zbić mnie z tropu do reszty. Wydawało mi się niekiedy, że rozpoznaję mgliście jakiś szczegół, i byłem już pewny, że za chwilę objawi się moim oczom w całej swej pustce, samotności i ciszy ten zmuszony do nieobecności cudowny plac. Lecz w teży chwili jakiś złośliwy duch obleczonego kształtu zaułka, którego się nie spodziewałem, w który skręciłem z konieczności, wywiódł mnie z powrotem nad Canale Grande. A że wspomnienie wyniesione ze snu niczym się nie różni od innych wspomnień, zaczynałem zadawać sobie pytanie, czy to czasem nie w moim śnie wykryzalizował przez jakiś dziwne zawirowanie ten ciemny fragment Wenecji, otwierający przede mną przestrzeń placu otoczonego romantycznymi pałacami, jakby stworzoną do kontemplacji w świetle księżyca.

Ale bardziej niż utrata pięknego placu zmartwiłaby mnie konieczność wyrzeczenia się sposobności do spotkania z pewną kobietą. Przez cały czas mojego pobytu w Wenecji obawa przed zaprzepaszczeniem tej szansy utrzymywała mnie w gorączkowym napięciu, rosnącym stale aż po dzień, na który moja matka wyznaczyła wyjazd; pod wieczór, gdy nasze kufry zostały już wyprawione gondolą na stację, przeczytałem w spisie cudzoziemców oczekiwanych w hotelu: „Baronowa Putbus ze służbą”. Wyobrażenie długich godzin rozkoszy, której miał mnie pozbawić nasz wyjazd, nadało mojej chronicznie utrzymującej się żądzy wzniosłość najświętszych uczuć, te zaś od razu pochłonęła wysoka fala smutku.<sup>1452</sup> Gdy w dniu wyjazdu dowiedziałem się, że pani Putbus, a z nią także jej pokojówka, mają przybyć do Wenecji<sup>1453</sup>, poprosiłem matkę, by zgodziła się opóźnić nasz powrót o kilka dni. Wyras jej twarzy, świadczący o tym, że nie miała zamiaru wysłuchać mojej prośby, ani przez chwilę nie biorąc jej na serio, wprawił mój system nerwowy, podrażniony wiosną wenecką, w znany mi sprzed lat stan zacieklego oporu przeciwko zmowie, zawiązanej, jak sobie niegdyś roilem, przez rodziców (w nadziei że zdołają mnie tym sposobem wdroić do posłuszeństwa) — i gotów byłem do bezlitosnej walki, by narzucić swą wolę tym, których kochałem, choćbym miał nawet, wymusiwszy przedtem ustępstwa z ich strony, skapitulować. Oznajmiłem matce, że z nią nie pojedę, ona jednak,

<sup>1451</sup> *Gąszcz kominów (...)* musiałem się po części domyślać — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1452</sup> *Ale bardziej niż utrata (...)* fala smutku — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1453</sup> *Gdy w dniu wyjazdu dowiedziałem się, że pani Putbus, a z nią także jej pokojówka, mają przybyć do Wenecji* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]



sądząc, że z pewnością będzie zignorować moje słowa, pozostawiła je bez odpowiedzi. Zagroziłem jej, że jeszcze się przekona, czy nie należało słów moich potraktować poważniej. Podszedł do nas portier, by podać trzy listy, dwa dla niej, trzeci dla mnie. Włożyłem list do portfela między inne papiery, nie patrząc nawet na kopertę. Nadeszła godzina odjazdu i matka, zabierając moje rzeczy, wyruszyła na dworzec. Ja tymczasem kazałem sobie podać coś na tarasie nad kanałem i usiadłem tak, by patrzeć na zachód słońca; na łódce przycumowanej naprzeciw hotelu ktoś śpiewał *Sole mio*.<sup>1454</sup>

Słońce jeszcze nie zaszło. Matka zapewne zbliżała się do dworca. Za chwilę miała odjechać, a ja zostawałem w Wenecji, sam ze swym smutkiem, że ją skrzywdziłem, pozbawiony jej niosącej ukojenie bliskości. Od godziny odjazdu pociągu dzieliły nas minuty. Moja nieodwołalna samotność była o krok, a mnie się wydawało, że trwa już w całej pełni.

Poczułem się opuszczony. Wszystko wokół nagle wydało mi się obce. Oto rozpościerała się już przede mną inna Wenecja, ta, w której miałem żyć bez matki. Nie tylko matki w niej zabrakło, ale nawet ze mnie samego niewiele pozostało, nie miałem bowiem w sobie dość spokoju, by oderwać się od bicia własnego serca i poszukać oparcia w tym, co zewnętrzne. Co więcej, to już nawet wcale nie była Wenecja.<sup>1455</sup> Wydawałoby się, że to z mojego tchnienia zrodził się duch ożywiający przedtem kamienie pałaców i wody kanałów.<sup>1456</sup> Cudowność tego miasta wydawała mi się już tylko fałszem i zmysleniem, i nie miałem chęci dalej wmawiać sobie, że jego nazwa należy do murów, które miałem przed sobą. Pałace zostały w moich oczach zredukowane do materiałów, z których je wzniesiono, do zbliżonych ilości podobnego marmuru, a woda stała się oto jedynie związkiem wodoru i tlenu, substancją niezniszczalną, ślepą, starszą od Wenecji i do niej nie należącą, nie znającą dożów ani Turnera. Owo bezimienne miejsce było mi obce jak miasto, do którego właśnie przybywamy i które jeszcze nas nie zna, albo jak tamto, z którego wyjechaliśmy i które o nas zapomniało. Nie mógłbym mu o sobie powiedzieć nic więcej, nie znajdowałem w nim żadnego oparcia, przyprawiało mnie o dreszcz trwogi, cały byłem już tylko bijącym sercem i napiętą uwagą, śledzącą wzlot i opadanie linii melodycznej *Sole mio*. Choćbym w największej desperacji czepiał się wzrokiem słynnego i pięknego łuku Rialta, z trywialną oczywistością widziałem w nim po prostu most, nie dość, że nie dorównujący oczekiwaniom, to obcy im z gruntu, jak twarz aktora, o którym wiem to na pewno, że mimo czarnego stroju i peruki blond, w rzeczywistości wcale nie jest Hamletem. Tak oto pałace, kanał i Rialto odarte zostały z wyobrażeń, którym zawdzięczały swą niezwykłość, i rozłożyły się z powrotem na elementy materialne. Ale teraz całe to pierwsze lepsze miasto wydawało mi się zarazem niezmiernie odległe. Pod działaniem czynnika obiektywnego, jakim jest oddalenie, basen Arsenалу zyskiwał szczególne właściwości rzeczy na pozór swojskich, lecz w istocie do cna obcych, zdomowionych pod nie naszym niebem. Przeczuwałem, że przestrzeń, dzielącą mnie od tego niezbyt dalekiego miejsca na horyzoncie, gdzie mógłbym bez trudu dotrzeć w ciągu godziny, powinno się mierzyć inną miarą niż nad wodami Francji, a jeśli punkt leżący na końcu świata okazuje się zakotwiczony tuż obok, to tylko za sprawą iluzji, będącej efektem podróży i pozwalającej mi wyraźniej sobie uświadomić, że w rzeczywistości jestem stąd bardzo daleko. Toteż basen Arsenálu, odległy a zarazem nieważny, budził we mnie te same pomieszane uczucia odrazy i lęku, jakich doznałem w dzieciństwie, towarzysząc matce do kąpieliska Deligny; ujrzałem tam zdumiewający pejzaż, wypełniony ciemną wodą, nad którą nie wznosiło się niebo i nie świeciło słońce, tylko wokół ciągnęły się kabiny kąpielowe, mające, jak się wydawało, tajemne połączenia z przepastną głębią; mrowiły się nad tą wodą ludzkie ciała obleczone w kąpielowe stroje<sup>1457</sup>, ja zaś zadawałem sobie pytanie o owe głębie, których patrząc od strony ulicy, niepodobna było odgadnąć, zasłaniały je

<sup>1454</sup>Podszedł do nas portier (...) ktoś śpiewał *Sole mio* — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1455</sup>Wszystko wokół nagle wydało mi się obce (...) Co więcej, to już nawet wcale nie była Wenecja — Proust skreślił fragment następujący tu po zdaniu: „Poczułem się opuszczony”. Należał on do akapitu zaczynającego się od słów: „Matka z pewnością była już na dworcu”. Zawierał powtórzenie myśli wyrażonej wcześniej, w tym właśnie miejscu. Skreślonym fragmentem, lepiej napisanym i efektowniejszym, zastąpiono następujący tekst: „Nie miałem w sobie dość spokoju, by oderwać się od bicia własnego serca i poszukać równowagi w otoczeniu. Miasto, które się przede mną rozpościerało, nie było już Wenecją”. [przypis tłumacza]

<sup>1456</sup>Oto rozpościerała się już przede mną inna Wenecja (...) kamienie pałaców i wody kanałów — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1457</sup>obleczone w kąpielowe stroje — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

bowiem przed wzrokiem zwykłych śmiertelników zabudowania — czy nie z nich brały początek lodowate morza rozlewające się aż po bieguny albo czy ta zamknięta przestrzeń sama nie była po prostu biegunem, wolnym od lodów skrawkiem polarnego oceanu; ta nierzeczywista, chłodna i obojętna Wenecja, w której miałem żyć sam, wyglądała nie mniej dziwnie i obco. A wznosząca się nad nią coraz wyżej linia melodii *Sole mio* zdawała się tę utraconą Wenecję, którą znałem, oplakiwać, biorąc na świadka mój smutek. Bez wątpienia nie należało już dłużej słuchać tej pieśni, jeśli miałem zdążyć na pociąg i wrócić z matką do domu. Trzeba mi było bez chwili zwłoki coś przedsięwziąć. Lecz tego właśnie nie mogłem uczynić. Ogarnięty bezwładem, nie byłem zdolny nie tylko wstać, ale nawet postanowić, że wstanę.

Mój umysł, z pewnością po to tylko, by nie stanąć oko w oko z koniecznością działania, Ignął do kolejnych zwrotek *Sole mio*, niemo towarzysząc śpiewakowi w rozwijającej się frazie, której porywy znałem zawczasu, gotów wzlatywać wraz z nimi i z nimi opadać.

Nie poruszała moich uczuć ta banalna melodia, słyszana setki razy. Jeśli wysłuchałem jej w nabożnym skupieniu aż do samego końca, to nie dla własnej przyjemności, ani zresztą dla niczyjej. Żaden z pospolitych i ogranych do znudzenia motywów tej pieśni nie mógł mi pomóc w podjęciu postanowienia, które podjąć musiałem. Co więcej, każda kolejna zwrotka przeszkadzała mi w podjęciu działania, lub raczej narzucała bezczynność, oznaczającą tyle, że nigdzie nie pojedę, byłem bowiem coraz bardziej spóźniony. Toteż w tym samym czasie, gdy pozwoliłem, by owładnęła mną słuchana bez przyjemności pieśń *Sole mio*, pogrążałem się w beznadziejnej i coraz głębszej rozpacz. Rozumiałem, że jeśli nie ruszę się z miejsca, to także będzie oznaczało decyzję — że nie wyjadę. Ale nie umiałbym powiedzieć sobie po prostu: „Nie wyjadę”, stawało się to możliwe dopiero pod warunkiem użycia zastępczej formy: „Posłucham jeszcze jednej zwrotki *Sole mio*”. Te słowa łatwiej mogły mi przejść przez gardło, choć nie bez bólu.<sup>1458</sup> Nie umykał mi ich prawdziwy sens, i nawet powtarzając sobie: „Przecież na razie tylko słucham kolejnej zwrotki”, wiedziałem, co to znaczy: „Zostanę sam w Wenecji”. Być może właśnie w dławiącym, zimnym tchnieniu owego smutku zawierał się dla mnie cały urok pieśni, rozpaczliwy i oszalamiający. Każda nuta, którą śpiewak wyrzucał w przestrzeń z dumą i mocą atlety, raniła moje serce. A kiedy kolejna zwrotka umilkła, zatoczywszy koło, i wydawało się, że to już koniec, niestrudzony rozpoczął następną, jakby chciał jeszcze raz obwieścić światu bezmiar mojej rozpacz i osamotnienia. Kiedy moja uwaga w jakimś bezrozumnym odruchu grzeczności wzbraniała się oderwać od jego pieśni, powiadałem sobie: „Jeszcze za wcześnie na decyzję; przedtem wysłuchajmy do końca nowej zwrotki”. I nowa zwrotka wtrącała mnie w samotność jeszcze głębszą, wszechogarniającą, za chwilę być może nieodwracalną.<sup>1459</sup>

Matka z pewnością była już na dworcu. Za chwilę miała odjechać. Gardło ścisnął mi lęk na widok Canale Grande nagle skarłatego, gdy duch Wenecji go opuścił; na widok osuwającego się w banal Rialta, które Riałtem już nie było; ten krzyk rozpacz, w jaki zamieniła się pieśń *Sole mio*, wznosząc się pośród pałaców na poły już pozbawionych spistości, zdołał dopełnić dzieła zniszczenia i rozpadu; na moich oczach katastrofa z wolna stawała się rzeczywistością — budowaną misternie, nuta po nucie, przez śpiewaka o szalonych oczach, utkwionych nieruchomo w tarczy słonecznej, która zawisała nad kopułą San Giorgio Maggiore. To gasnące światło miało na zawsze pozostać w mojej pamięci, razem z drżeniem mojego własnego serca i spiżowym głosem śpiewaka; aliaż przejmujący, wieloznaczny i niezniszczalny.<sup>1460</sup>

Siedziałem nieruchomo, bezwolnie, bezczynnie. Z pewnością w takich chwilach nasza decyzja jest już przesądzona, a ci, co nas znają, potrafiliby ją nawet przewidzieć. Tylko my jedni nie wiemy, gdzie jej szukać. Ileż cierpień zostałoby nam oszczędzonych, gdyby rzecz się miała inaczej!

Lecz niezbadane czeluści, ciemniejsze od tych, w których bierze początek przewidywalna trajektoria komety — kryjące w sobie nieoceniony obronny potencjał zadawnionych nawyków, ukryte rezerwy sił, rzucanych na szalę tylko w ostateczności — nareszcie wyłoniły z siebie ruch; zerwałem się do biegu co sił w nogach i zdążyłem, co prawda

<sup>1458</sup> Te słowa łatwiej mogły mi przejść przez gardło, choć nie bez bólu — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1459</sup> Kiedy moja uwaga (...) za chwilę być może nieodwracalną — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1460</sup> Gardło ścisnął mi lęk (...) wieloznaczny i niezniszczalny — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

zamykano już drzwi wagonów, ale przypadłem do matki, czerwonej ze zdenerwowania, z ledwością powstrzymującej łzy, bo nie liczyła na to, że ją dogonię.

— Wiesz — powiedziała — twoja biedna babka mawiała: To osobliwe, jak ten mały potrafi być i najnieznośniejszy, i najmiłszy w świecie.<sup>1461</sup>

Pociąg ruszył. Padwa i Werona wybiegły mu na spotkanie, by nas pozdrowić tuż przy dworcu i pozostać w tyle, żyjąc dalej własnym życiem, pierwsza nie miała bowiem powodu opuszczać swojej równiny, a druga swego wzgórza.<sup>1462</sup>

Mijały godziny. Matka nie śpieszyła się z przeczytaniem dwóch listów, bym i ja nie sięgnął tak od razu do portfela po list, wręczony mi przez portiera w hotelu. Jak zwykle obawiała się, że jazda pociągiem znudzi mnie i zmęczy, żeby więc zająć mnie czymś w ostatnich godzinach podróży, odkładała najdłużej jak mogła moment rozpakowania jasek na twardo, zwlekała z wręczeniem mi gazet, z otwarciem paczki książek, kupionych w tajemnicy, by zrobić mi niespodziankę. Przyglądałem się jej; najpierw przeczytała list z widocznym zdumieniem, a potem podniosła wzrok, zdający się błędzić wśród rozproszonych wspomnień, ani trochę nie pasujących jedno do drugiego. Tymczasem na mojej kopercie rozpoznałem pismo Gilberty. Otworzyłem list. Gilberta donosiła mi o swoim bliskim ślubie z Robertem de Saint-Loup. Ponoć depešowała już na mój adres w Wenecji, lecz nie dostała odpowiedzi. Przypomniałem sobie, co mi mówiono o bałaganie panującym w tamtejszym urzędzie telegraficznym. Nie dostałem od niej żadnej wiadomości, w co — obawiałem się — ona nie uwierzy. Lecz z nagłą ów fakt niedoręczenia depešy, zajmujący dotąd stosowne miejsce w mojej pamięci, nagle je opuścił, ustępując pola zupełnie innemu faktowi. Otóż sądziłem, że wiadomy telegram przysłała mi Albertyna, podczas gdy w rzeczywistości była to depeša od Gilberty. Siłą się na oryginalność, poprzeczną kreskę litery „t” Gilberta stawiała tak wysoko, jakby chciała podkreślić, jakieś słowo z górnego wiersza, a kropki nad „i” zdawały się rozdzielać przecinkami słowa, pod którymi przypadkiem się znalazły; za to ozdobne ogonki liter wplątywały się w słowa dolnego wiersza i zakłócały jego porządek. Nic dziwnego, że telegrafista włączył zbłąkane ogonki liter „s” i „y” do imienia „Gilberta”, dodając mu mylącą końcówkę. Kropka nad „i” wskoczyła, piętro wyżej, by tam udawać przecinek. „G” przybrało zaś wygląd gotyckiego „A”. Jeśli poza tym jeszcze ze dwa lub trzy wyrazy się ze sobą pomieszały (w istocie było tam kilka całkiem niezrozumiałych słów), to już wystarcza, by wyjaśnić pomyłkę, która i bez tego wcale nie dziwi. Ileż bowiem liter każdego słowa przeczyta uważnie człowiek roztargniony, a zwłaszcza człowiek uprzedzony, któremu się wydaje, że wie, kto jest autorem listu? Ile przeczyta słów w zdaniu? Czytając, zgadujemy i sami tworzymy znaczenia. Punktem wyjścia może być początkowy błędny domysł, a potem (co dotyczy nie tylko listów i telegramów, lecz wszelkich lektur w ogóle), nawet jeśli treść wydałaby się dziwaczna komuś, kto nie zna przyświecającego nam założenia, dla nas wszystko jest jasne. Lwia część naszych przekonań, nie wyłączając tych najważniejszych, tu właśnie bierze początek: w uporze pomieszanim z ufnością, kiedy już pierwsze domniemanie wprowadziło nas w błąd.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

— Rzecz niebywała! — odezwała się matka. — Wiesz co? W moim wieku człowiek niczemu się już nie dziwi, ale wierz mi, że wszystkiego prędzej bym się spodziewała niż wiadomości, którą znajduję w tym liście.

— Poczekaj! — odparłem. — Nie wiem, co to za wiadomość, ale nie może być bardziej niesłychana od tego, czego się właśnie dowiedziałem. Szykuje się ślub. Robert de Saint-Loup żeni się z Gilbertą Swann.

— Och! — westchnęła matka. — O tym zapewne przeczytam w drugim liście, którego jeszcze nie otworzyłam. Poznaję pismo twojego przyjaciela na kopercie — i matka uśmiechnęła się do mnie z lekkim wzruszeniem, jakie od czasu śmierci babki budziło w niej każde zdarzenie, choćby najbardziej znikomej wagi, lecz znaczące dla którejś

<sup>1461</sup> Wiesz, powiedziała, twoja biedna babka mawiała: To osobliwe, jak ten mały potrafi być i najnieznośniejszy, i najmiłszy w świecie — fragment skreślony. [przypis tłumacza]

<sup>1462</sup> Pociąg ruszył. Padwa i Werona wybiegły mu na spotkanie, by nas pozdrowić tuż przy dworcu i pozostać w tyle, żyjąc dalej własnym życiem, pierwsza nie miała bowiem powodu opuszczać swojej równiny, a druga swego wzgórza — fragment dopisany. [przypis tłumacza]

z istot ludzkich zdolnych do smutku, mających także swoje wspomnienia i swoich zmarłych. I uśmiechając się do mnie, mówiła dalej głosem tak łagodnym, jakby się obawiała zgrzeszyć brakiem powagi, nieposzanowaniem uczuć córki Swanna i wdowy po nim, zwłaszcza zaś melancholii, jaką w matce Roberta musiało budzić nieuniknione rozstanie z synem. Z dobroci serca i wdzięczności za okazywaną mi przez nich sympatię, gotowa była przypisać im swoje własne uczucia córki, żony i matki.

— Czy nie miałem racji, że trudno o coś bardziej niesłychanego? — spytałem.

— No cóż — odpowiedziała — to moja wiadomość jest bardziej zdumiewająca, nie powiem „ze wszystkich największa i najmniejsza”, bo te określenia, które cytuje teraz kto żyw, drażniłyby twoją babkę nie mniej niż zdanie: „Ileż uroku ma w sobie przetrząsanie siana”. Nie godzi się podnosić z ziemi tych cytatów z pani de Sévigné, które już przejął tłum. Dostałam w liście wiadomość o małżeństwie małego Cambremera.

— Tak? — zapytałem obojętnie. — Z kimże to? Zresztą wystarczy już nazwisko pana młodego, by odjąć twojej wiadomości posmak sensacji.

— Chyba że wywoła ją osoba panny młodej.

— Kto taki?

— Jeśli ci powiem od razu, nie będzie zagadki. Do dzieła, pomyśl — powiedziała matka, miała to bowiem na uwadze, żeśmy jeszcze nie minęli Turynu; inne rozrywki chciała mi zostawić na później.

— Ale jakże mam na to wpaść? Czy to jakaś olśniewająca partia? Jeśli Legrandin i jego siostra są zadowoleni, można być tego pewnym.

— Co do Legrandina, nic nie wiem, ale osoba, która mi o tym pisze, zapewnia, że pani de Cambremer jest zachwycona. Wątpię, czy nazwałbyś tę partię olśniewającą. Mnie się to raczej kojarzy z opowieściami o królach, biorących za żony pasterki, a w dodatku ona nie jest nawet pasterką, choć urocza. Twoja babka nie posiadałaby się ze zdumienia, ale raczej pochwalalaby ten związek.

— Któż więc jest narzeczoną?

— Panna d'Oloron.

— To mi wygląda na rzecz niebagatelną, wcale nie w guście pasterskim. Ale nie mam pojęcia, kto to taki. Tytuł należał do Guermantów.

— Otóż to. Pan de Charlus przekazał go siostrzenicy Jupiena, kiedy ją adoptował. To ona ma poślubić małego Cambremera.

— Siostrzenica Jupiena! Nie do wiary!

— Oto cnota nagrodzona. Małżeństwo jakby z zakończenia powieści pani Sand.

„Oto nagrodzony występki, małżeństwo jak z zakończenia powieści Balzaka” — pomyślałem.

— W istocie — zwróciłem się do matki — gdyby się nad tym zastanowić, rzecz jest całkiem zwyczajna. Cambremerom uda się teraz dostać wreszcie do klanu Guermantów, do towarzystwa, w którym dotąd nie mieli żadnej szansy się zahaczyć. W dodatku ta mała, dzięki hojności pana de Charlus, będzie miała pieniądze, co jest dla Cambremerów sprawą dużej wagi, bo oni ich już nie mają. A będąc adoptowaną córką, w ich oczach stała się córką najprawdziwszą — naturalną, jak to się mówi — człowieka, którego szanują jako księcia krwi. Małżeństwo z bękartem któregoś z tych domów niemalże królewskich od niepamiętnych czasów schlebiało próżności szlachty francuskiej i cudzoziemskiej. Nie trzeba nawet sięgać do sprawy Lucinge'ów, pamiętasz, nie dalej jak pół roku temu pewien przyjaciel Roberta poślubił młodą pannę, która swą pozycję towarzyską zawdzięczała wyłącznie temu, że — słusznie lub niesłusznie — uchodziła za naturalną córkę panującego księcia.

Mama, niewolna od kastowych przesądów Combray, pod wpływem których szokowałyby babkę takie małżeństwo, usiłowała przede wszystkim oddać sprawiedliwość jej wnikliwym sądom, dodała więc:

— Ta mała jest zresztą wcieleniem ideału, i nie trzeba nawet niezmiernej dobroci twojej babki, jej nieskończonej życzliwości, by zdobyć się na wyrozumiałość wobec młodego Cambremera. Pamiętasz pewnie, ile mówiła babka o jej dystynkcji przed laty, owego dnia, kiedy wstąpiła tam, żeby jej zaszyli spódnicę? Wtedy to było jeszcze dziecko. A teraz, choć osiągnęła już swoje lata i dawno powinna by pójść za mąż, ma w sobie tej dystynkcji jeszcze sto razy więcej. Ale twoja babka widziała to już na pierwszy rzut oka.

Po powrocie stwierdziła, że w małej siostrzenicy krawca znalazła więcej „szlachectwa” niż u księcia de Guermantes.

Ale moja matka jeszcze bardziej niż pochwalić babkę potrzebowała dać wyraz przekonaniu, że jest „lepiej” dla babki nie patrzeć już na to wszystko. Jej miłość osiągała swą najwyższą, najbardziej wysublimowaną postać w tym odruchu serca, pragnącego oszczędzić babce nowych zgryzot.

— Z drugiej strony, pomyśl tylko, czy Swann ojciec (prawda, ty go nie znałeś) mógł choć przez chwilę pomyśleć, że w żyłach jego prawnuków krew starej Moserowej, co mówiła „Czen dobry panów”, pomiesza się z błękitną krwią Gwizjuszy?

— Mamo, to jest jeszcze dziwniejsze, niż ci się wydaje. Bo Swannowie byli szanowaną rodziną, a ich syn, ożeniwszy się odpowiednio, przy swojej pozycji towarzyskiej mógłby dla córki czy syna znaleźć świetną partię. Ale to wszystko spaliło na panewce, kiedy wziął za żonę kokotę.

— No wiesz, z kokotą to może przesada, ludzkie języki są niezycliwe. Ja nigdy w to nie wierzyłam.

— Ależ tak, zwykłą kokotę. Kiedyś, przy okazji, powiem ci więcej... Znam parę szczegółów, które zainteresują cię ze względów rodzinnych.

Moja matka ciągnęła w zadumie:

— Córka kobiety, której twój ojciec za nic nie pozwoliłby mi się ukłonić, bierze ślub z wnukiem pani de Villeparisis, zdaniem twojego ojca stojącej od nas o tyle wyżej, że z początku zabraniał mi ją odwiedzać. — I dorzuciła po chwili: — Syn pani de Cambremer, której Legrandin obawiał się nas polecić, sądząc, że będziemy dla niej za mało szykowni, żeni się z córką człowieka, który nigdy nie ośmieliłby się zapukać do nas inaczej jak od kuchni! Mimo wszystko, twoja biedna babka miała rację, kiedy mówiła (pamiętasz?), że to, co wyczynia arystokracja, byłoby nie do przyjęcia wśród przyzwoitych mieszczan. Potępiła królową Marię Amelię za nadszkakiwanie kochance księcia de Condé w nadziei, że ta nakłoni go do złożenia zeznań korzystnych dla diuka d'Aumale. Przypomnij sobie, gorszyło ją, że po paru stuleciach dziewczęta z rodu de Gramontów, zresztą istne święte, nosiły imię Koryzanda na pamiątkę nieślubnego związku jakiejś dalekiej prababki z Henrykiem IV. Być może i wśród mieszczaństwa zdarzają się podobne rzeczy, ale na pewno nikt nie trąbi o nich tak bezwstydnie. Powiedz sam, czy ta wiadomość nie byłaby zajmująca dla twojej biednej babki! — mówiła matka ze smutkiem. Przyjemności, z których ku naszej rozpaczycy babka została wykluczona, były drobnymi radościami codziennego życia, takimi jak nowa powieść, przedstawienie lub jeszcze mniej, choćby celna parodia znanej nam postaci. — Wyobrażasz sobie, jak bardzo by się zdziwiła? Ale mam wrażenie, że byłby to dla niej niemiły wstrząs, nie ucieszyłaby się z tych małżeństw. Może i lepiej, że nigdy się o nich nie dowie — dodała, w każdym bowiem wydarzeniu gotowa była dostrzec jakąś szczególną właściwość zdolną wpłynąć na usposobienie mojej babki, z racji jej najzupełniej wyjątkowej wrażliwości, jak i dla jego własnej nadzwyczajnej wagi.

W obliczu każdej godnej pożałowania okoliczności, spadającej na nas jak grom z jasnego nieba — nieszczęścia albo bankructwa wśród naszych starych znajomych, klęski żywiołowej, epidemii, wojny, rewolucji — matka mówiła sobie, że to by zanadto zmarawiło moją babkę, może nie byłaby w stanie tego znieść, lepiej więc dla niej, że na to nie patrzy. A kiedy mieliśmy do czynienia z niespodziankami tak szokującymi, jak owe rewelacje matrymonialne, moja matka ulegała odruchom serca podobnym do tych, które w złych ludziach rodzą nadzieję, że męki osób im niemiłych były cięższe niż w rzeczywistości, tyle że w tym wypadku mechanizm działał w sposób odwrotny, z miłości chciała bowiem wierzyć, że ominęły babkę przeżycia przykre i przygnębiające. W jej pojęciu babka była już poza zasięgiem wszelkiego zła, nie mogło jej ono dotknąć, i matka pocieszała się, że śmierć przyniosła babce wybawienie, że los oszczędził odrażającego widowiska nowych czasów tej szlachetnej istocie, niezdolnej się pogodzić z ich brzydotą. Optymizm to sposób myślenia żywiący się przeszłością. Spośród wszystkich możliwych zdarzeń znane są nam jedynie te, które naprawdę miały miejsce, zło, jakie zrodziły, wydaje się nam oczywiste i nieuniknione, za te nieliczne zaś okruchy dobra, których rozwój wypadków siłą rzeczy nie mógł nie przynieść, poczuwamy się do wdzięczności i odnosimy wrażenie, że gdyby sprawy potoczyły się inaczej, owo dobro przepadłoby bezpowrotnie. Usiłując odgadnąć, czym by te nowiny były dla mojej babki, matka zakładała jednocześnie, że na-

sze umysły, jako mniej szlachetne, nie są w stanie sprostać takiemu zadaniu. „Wyobraź sobie — powiedziała przed chwilą matka — jak bardzo twoja babka byłaby zdziwiona!” I czułem, że boli ją niemożność złożenia osobistego sprawozdania, żałowała, że babka się o tym wszystkim nie dowie. Co w oczach mamy było szczególnie dla babki krzywdzące, to że życie niosło zdarzenia, o których babce nawet się nie śniło, i w ten sposób podważało jej pojęcia o ludziach i świecie, jako zbyt ciasne lub niesłuszne. Małżeństwo siostrzenicy Jupiena z młodym Cambremerem zdolne było naruszyć fundamenty jej wiedzy o życiu w tym samym stopniu, co wiadomość, że rozwiązano problemy jej zdaniem nierozwiązywalne, takie jak telegraf bez drutu i nawigacja powietrzna — o ile matka znalazłaby sposób, żeby ją o tym powiadomić. Można się było jednak słusznie spodziewać, że owo pragnienie dzielenia się z babką zdumiewającymi nowinami o dobrodziejstwach techniki matka za chwilę sama uzna za nazbyt egoistyczne.

Dowiedziałem się później — byłem bowiem w Wenecji, kiedy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia — że o rękę panny de Forcheville starali się diuk de Châtellerauld i książę de Silistrie, podczas gdy Saint-Loup zamierzał poślubić pannę d'Entragues, córkę księcia Luksemburga. A oto co się stało: pani de Marsantes pomyślała o pannie de Forcheville, mającej sto milionów posagu, że byłaby to doskonała partia dla jej syna. Miała przy tym czelność rozpowiadać, że nic by jej nie obchodziło, czy ta urocza młoda osoba jest bogata czy biedna, nie spytałaby nawet o jej majątek, bo i bez niego rzadkie to szczęście dla młodego człowieka znaleźć taką żonę. Śmiałe posunięcie, jak na kobietę, którą skusiło sto milionów i poza nimi nie widzi świata. Wszyscy w lot pojęli, że zapragnęła Gilberty dla swojego syna. Księżna de Silistrie, wznosząc gromkie okrzyki, rozwodziła się nad chwałą nazwiska Saint-Loup i rozpaczała, że jeśli Robert ożeni się z córką Odety, w dodatku pół-Żydówką, oznaczać to będzie upadek Faubourg Saint-Germain. Pani de Marsantes, choć zawsze tak pewna siebie, tym razem musiała spuścić z tonu i zaczęła się chyłkiem wycofywać, przestraszona hałasem wszczętym przez księżnę de Silistrie; ta zaś, nie zwlekając, sama wystosowała oświadczyzny w imieniu swego syna. Krzyk podniosła bowiem po to jedynie, by zaklepać Gilbertę dla siebie. Tymczasem pani de Marsantes, nie chcąc zostać na lodzie, podjęła na nowo starania o pannę d'Entragues, córkę księcia Luksemburga, która ze swoimi dwudziestoma milionami mniej się jej uśmiechała, ale zostało ogłoszone wszem i wobec, że Saint-Loup nie może poślubić jakiegś tam Swannówny (nazwiska de Forcheville już się nie wymieniało). W jakiś czas później ktoś puścił plotkę, że książę de Châtellerauld uderza w konkury do panny d'Entragues. Pani de Marsantes, drażliwa jak mało kto, uniosła się pychą; na nowo zmieniła front, zwróciła się do Gilberty, poprosiła ją o rękę w imieniu Roberta, po czym, nie zwlekając ani chwili, wyprawiono zaręczyny.

Ogłoszone zapowiedzi były żywo komentowane w różnych kręgach. Znajome mojej matki, które zetknęły się z Robertem de Saint-Loup w naszym domu, przybiegały do niej w dniu wizyt, żeby zapytać, czy to ten sam, z którym się przyjaźniłem. A co do owej drugiej pary, niektórzy twierdzili wręcz, że zaszło nieporozumienie, bo nie o tych Cambremerów chodziło. Czerpali swe informacje z najlepszego źródła: sama margrabina de Cambremer, z domu Legrandin, zdementowała wiadomość w przeddzień ogłoszenia zaręczyn. Ja tymczasem zachodziłem w głowę, jak to się stało, że ani pan de Charlus, ani Robert de Saint-Loup, pisząc do mnie w tym czasie bardzo przyjacielskie listy i rozwodząc się w nich szeroko na temat zamierzonych podróży, ani słowem nie wspomnieli o tych uroczystościach, z którymi żadna podróż nie dałaby się przecież pogodzić. Nie wiedząc o zwyczaju utrzymywania tego rodzaju wydarzeń w ścisłej tajemnicy do ostatniej chwili, wyciągnąłem stąd wniosek, że nie jestem tak bliskim przyjacielem, jak sądziłem, co sprawiło mi przykrość, zwłaszcza jeśli chodzi o Roberta. Ale wiedziałem już, jaką komedią jest uprzejmość i prostota arystokracji, wiedziałem co warte jest „obcowanie” z tym towarzystwem „na równej stopie” — czemuż więc jeszcze się dziwiłem, że nie zostałem dopuszczony do tajemnicy? W pewnym domu publicznym, gdzie oprócz kobiet coraz liczniej rezydowali mężczyźni, tam właśnie, gdzie pan de Charlus kiedyś podglądał Morela, „wicedyrektorka”, namiętna czytelniczka „Le Gaulois”, która zwykła komentować wszystkie wiadomości z wielkiego świata, oświadczyła pewnemu opasłemu klientowi, przychodzącemu, by w towarzystwie młodych ludzi bez opamiętania zapijać się szampa-

nem (mówił, że musi jeszcze utyc, chciał bowiem mieć pewność, że w razie wojny go nie „wezmą”): — Zdaje się, że Saint-Loup jest „z tych”, i Cambremerek także. Żal mi przyszłych żon! Ale w każdym razie, jeśli pan zna obu narzeczonych, proszę ich tu do mnie przysłać, znajdą wszystko, czego zapagną, a przy tym dadzą dobrze zarobić. — Na co gruby pan, choć sam był „z tych”, przy tym trochę snob, zakrzyknął, że obydwu spotyka często u swoich kuzynów d’Ardonvillers, i bynajmniej nie są „z tych”, odwrotnie, to wielcy amatorzy kobiet. — Cóż, być może — zakończyła tę rozmowę „wicedyrektorka” z widocznym niedowierzaniem; nie miała jednak dowodów, pomyślała więc sobie, że w obecnych czasach zepsucie obyczajów szerzy się na wyścigi z plagą wyssanych z palca oszczerstw. Parę osób, z którymi długo się nie widziałem, napisało do mnie z zapytaniem o „moją opinię” o obydwu małżeństwach, całkiem w tonie tych ankiet, które rozsyła się, pytając o opinię na temat rozmiarów damskich kapeluszy odpowiednich do teatru, albo też na temat powieści psychologicznej. Trudno mi było zmusić się do odpisywania na te listy. Co do owych małżeństw — nie miałem zdania; byłem pogrążony w głębokim smutku, dwie bowiem części mojej własnej przeszłości, mocno zakotwiczone i wypełnione po brzegi tajnymi nadziejami, jakie narastały we mnie z wolna dzień po dniu, nagle odpłynęły ku obcym brzegom z radosnym łopotem proporczyków niby dwa parowce, by nie powrócić już nigdy. Dla samych zainteresowanych była to rzecz najzwyczajniejsza w świecie, chodziło bowiem właśnie o nich, nie o kogo innego. Dawniej przy każdej okazji wyśmiewali się z tych „wielkoświatowych mariaży”, za którymi kryje się zawsze jakaś wstydliva tajemnica. Nawet Cambremierowie, rodzina tak stara i wolna od uprzedzeń, pierwsi puściliby w niepamięć osobę Jupiena, by napawać się niezaprzeczalną wielkością nazwiska d’Oloron, gdyby nie przeszkodził w tym ktoś, komu owo małżeństwo powinno właściwie najbardziej schlebiać: margrabina de Cambremer-Legrandin. Z natury była jędrą, toteż przyjemność upokarzania bliskich ceniła wyżej niż własną chwałę. Nie lubiła syna i dość szybko poczuła niechęć do przyszłej synowej, zaczęła więc głosić, że dla potomka Cambremierów to katastrofa pojąć za żonę pannę niewiadomego pochodzenia, mającą w dodatku krzywe zęby. Jeśli zaś chodzi o młodego Cambremera, który najchętniej zadawał się z literatami w rodzaju Bergotte’a lub chociażby Blocha, łatwo było przewidzieć, że ten świetny związek nie uczyni go snobem, ale kiedy się poczuje następcą diuków d’Oloron, „książąt krwi”, jak pisały gazety, pewien już całkowicie swej własnej wielkości, zacznie przestawać z byle kim. Drobną szlachtę zaniedbywał dla co bardziej oświeconego mieszczaństwa, gdy tylko nie zaprzętały go obowiązki towarzyskie wobec ich książęcych wysokości. Wszystkie zaś notki w gazetach, dotyczące Roberta de Saint-Loup, z wyliczeniem jego królewskich przodków, dodawały mu co prawda w moich oczach nowego splendoru, lecz tym bardziej mnie przygnębiały, jak gdyby nagle stał się inną osobą, bardziej potomkiem Roberta Mocnego niż przyjacielem, który nie tak dawno w powozie siadł na strapontenie z troski o moją wygodę. Nie zgadłbym, że ożeni się z Gilbertą; nieoczekiwana wiadomość, którą znalazłem w jej liście, stała w całkowitej sprzeczności ze wszystkim, co jeszcze poprzedniego dnia wyobrażałem sobie o każdym z nich dwojgą; zaskakiwała jak osad na dnie próbówki i zasmucała, choć z drugiej strony mogłem się domyślać, że Robert był w tym czasie bardzo zajęty i że małżeństwa w wielkim świecie często zawiązują się w pośpiechu, gdy chodzi o to, by znaleźć coś w miejsce innej, chybotnej kombinacji. A mój smutek, posępny jak wóz przesiedleńca, gorzki jak zazdrość, był efektem gwałtownego wstrząsu, którego doznałem z powodu tych dwóch ślubów, tak widocznym, że na wspomnienie tamtych chwil inni przypisywali mi później zdwojoną lub nawet potrójną i poczwórną moc przeczuć, myśląc się zresztą całkowicie, bo niczego nie przeczuwałem.

Ci z ludzi światowych, którzy wcześniej nie interesowali się Gilbertą, mówili mi z wielkim przejęciem: „Ach, więc to ona wychodzi za margrabiego de Saint-Loup”, i obrzucali ją uważnym spojrzeniem złaknionym nie tylko ciekawostek towarzyskich Paryża, lecz zgoła rzetelnej wiedzy o życiu, przy czym pewni byli siły i bystrości swego wzroku. Ci zaś, którzy znali tylko Gilbertę, równie uważnie przyglądali się Robertowi i prosili mnie (niektórzy nie byli nawet dalekimi znajomymi), bym ich przedstawił narzeczonemu, a po tej ceremonii zwracali się do mnie, opromienieni odświętnym blaskiem cudzego szczęścia: „Prezentuje się znakomicie”. Gilberta była święcie przekonana, że nazwisko margrabiego de Saint-Loup jest tysiąc razy więcejjarte niż tytuł księcia Orleanu. Ale

należąc przede wszystkim do swego pokolenia, chciała uchodzić za równie dowcipną jak inni, z upodobaniem powtarzała więc *mater semita*, i chcąc się wydać wcieleniem figlarnej inteligencji, dorzucała: „Ze mną jest akurat odwrotnie, to *pater*”.

— Zdaje się, że to księżna Parmy wyswatała małego Cambremera — powiedziała mi matka. Była to prawda. Księżna Parmy знаła od dawna Legrandina, jej zdaniem człowieka nad wyraz dystyngowanego, znała też panią de Cambremer, która prędko zmieniała temat, słysząc pytanie księżnej, czy jest jego siostrą. Księżna rozumiała żal pani de Cambremer, od lat zmuszonej całować klamki arystokratycznych salonów, gdzie nikt jej nie przyjmował. Kiedy więc księżna Parmy, która obiecała, że znajdzie partię dla panny d’Oloron, spytała pana de Charlus, czy zna uprzejmego i wykształconego człowieka nazwiskiem Legrandin de Méséglise (bo tak się teraz kazał tytułować), baron w pierwszej chwili powiedział, że nie zna, lecz potem nagle przypomniał sobie pewnego podróżnego, którego poznał nocą w pociągu i który zostawił mu bilet wizytowy. Przez jego twarz przemknął lekki uśmiech.

— To pewnie o niego chodzi.

A gdy usłyszał od księżnej o siostrzeńcu tegoż Legrandina, oświadczył:

— Ależ to znakomicie! Nawet gdyby okazał się podobny do wuja, nie powinno nas to zniechęcić. Zawsze mówiłem, że z nich są najlepsi mężowie.

— Z kogo? — spytała księżna.

— O, pani, wytłumaczyłbym to dokładnie, gdybyśmy się częściej widywali. Można z księżną rozmawiać o wszystkim. Wasza Wysokość jest osobą inteligentną — odparł pan de Charlus, który poczuł nagłą potrzebę zwierzeń, lecz dalej się już nie posunął. Nazwisko Cambremerów uznał za odpowiednie, wiedział, że wiąże się z nim jedno z czterech baronostw bretońskich i choć nie lubił rodziców narzeczonego, rozumiał, że niczego lepszego nie może się spodziewać dla swojej przybranej córki. Rodzina była stara, powszechnie szanowana, z chlubnymi koligacjami w całej prowincji. Na żadnego księcia nie należało liczyć, zresztą nie byłby pożądanym. Pan de Charlus znalazł to, o co mu chodziło. Księżna niezwłocznie wezwała Legrandina. W jego wyglądzie już dawno zaszły znaczne zmiany, raczej korzystne, jak u owych kobiet, które poświęciwszy urodę oblicza dla wiotkiej talii, bez przerwy siedzą w Marienbadzie. Legrandin nabrał swobody w postawie i ruchach, wzięciem przypominał oficera kawalerii. W miarę jak z wiekiem pan de Charlus stawał się coraz cięższy i bardziej powolny, Legrandin przeciwnie: pod działaniem tych samych czynników zyskiwał na lekkości i zwinności. Ruchliwość miała zresztą związek z jego życiem osobistym. Odwiedzał pewne domy cieszące się złą sławą, a że nie chciał, by go widziano, gdy wchodzi do takich lokali, zwykł do nich wpadać jak piorun. Kiedy księżna Parmy zaczęła mówić mu o Guermantach i o Robercie de Saint-Loup, oświadczył, że zna ich od zawsze, i zmylił ją, stawiając na równi swe sięgające zamierzchłych czasów obcowanie z nazwiskiem mieszkańców zamku Guermantes i zawartą u mojej ciotki w Combray znajomość z ojcem przyszłej pani de Saint-Loup, Swannem, z którego żoną i córką wtedy nie życzył sobie zresztą utrzymywać stosunków.

— Ostatnio odbyłem nawet podróż w towarzystwie rodzonego brata księcia de Guermantes, pana de Charlus. Sam nawiązał rozmowę, a to dobry znak, świadczący o tym, że nie jest nadętym bufonem i zarozumiałcem. Cóż, słyszałem, co o nim mówią. Ale w takie rzeczy z zasady nie wierzę. Nigdy nie wtykam nosa w prywatne sprawy innych ludzi. Zrobił na mnie wrażenie człowieka wrażliwego, o wielkiej kulturze osobistej.

Skoro tak, księżna Parmy wspomniała o pannie d’Oloron. W kółku Guermantów wzruszało wszystkich szlachetne serce pana de Charlus, który z właściwą sobie dobrocią uszczęśliwił tę biedną, uroczą dziewczynę. Książę Błazej, którego martwiła nie od dziś podejrzana reputacja brata, dawał chętnie każdemu do zrozumienia, że przy całej swej szlachetności postępek barona jest na wskroś naturalny. „Nie wiem, czy się wyrażam dość jasno, ale w całej tej sprawie nie ma nic nienaturalnego” — powiadał, brnąc w niezręczność przez nadmiar chytrej zręczności. Książę chciał wywołać domysły, że panna była naturalną córką jego brata, teraz dopiero uznaną. Manewr posłużył zarazem za wyjaśnienie roli Jupiena. Księżna Parmy podsunęła Legrandinowi tę wersję, by przekonać go, że młody Cambremer miałby się żenić z kimś takim, jak panna de Nantes, jedna z nieślubnych córek Ludwika IV, którymi nie pogardził ani książę Orleanu, ani pan de Conti.

Dwa śluby, o których rozmawiałem z matką w pociągu w drodze powrotnej do Paryża, wpłynęły dość znacząco na losy wielu postaci występujących w tej opowieści. Pierwszą



z nich był sam Legrandin. Nie trzeba nawet mówić, że wpadł on jak burza do pałacu pana de Charlus, zupełnie tak samo jak do tych lokali o złej sławie, gdzie nie chciał być widziany, przy czym jego sposób poruszania się pozwalał mu jednocześnie popisywać się brawurą i tuszować oznaki starości — nawyki bowiem nie odstępują nas nigdy, nawet tam, gdzie na nic już nie mogą się przydać — i prawie nikt nie zauważył, że witając go, pan de Charlus posłał mu nieokreślony, zagadkowy uśmiech, przypominający z pozoru — choć sytuacja była akurat odwrotna — uśmiechy wymieniane przez dwóch światowców z najlepszego towarzystwa, gdy przypadkiem natkną się na siebie w podrzędnym lokalu (na przykład w Pałacu Elizejskim, gdzie generał de Froberville na spotkanego tam przypadkiem Swanna zwracał ironiczne, znaczące spojrzenie, i w ten sposób zawiązywała się między nimi milcząca komitywa dwóch stałych gości księżnej des Laumes, którzy zniżyli się do wizyty u pana Grévy<sup>1463</sup>). Najbardziej jednak godne uwagi i korzystne zmiany zaszły w charakterze Legrandina. Od bardzo dawna — od czasów, kiedy jako dziecko spędzałem wakacje w Combray — pielęgnował on różne arystokratyczne znajomości, z których nigdy nie wynikało nic więcej niż zaproszenie na jakieś letnisko, i to wtedy, gdy innych gości się nie spodziewano. Małżeństwo siostrzeńca niespodziewanie scaliło rozproszone poletka, na których Legrandin kultywował swoje światowe stosunki, a gdy osiągnął wreszcie upragnioną pozycję, owe stosunki utrzymywane od dawna, lecz bez rozgłosu, od razu przydały jej szlacheckiej patynie. Różne wysoko urodzone damy, gdy ktoś chciał im przedstawić pana Legrandin, obwieszczały, że już od piętnastu lat spędza on u nich na wsi co roku dwa tygodnie, a ten piękny antyczny barometr stojący na kominku w salonie dostały właśnie od niego. Przyjmowany był w zamkniętych „kółkach”, gdzie spotykał przypadkiem różnych diuków, z którymi teraz był skoligacony. I oto gdy stała się jego udziałem ta doskonała pozycja w świecie, stracił wszelką ochotę, by z niej korzystać. Nie tylko dlatego, że odkąd powszechnie wiedziano, iż jest przyjmowany wszędzie, zaproszenia przestały go cieszyć; z dwóch namiętności, ścierających się w nim przez długi czas, ustąpiła w końcu ta nabyta — snobizm, górę zaś wzięła druga, organiczna, popychająca go, choćby drogą okrężną, ku jego prawdziwej naturze. Bez wątpienia te dwie namiętności dałyby się pogodzić, można bowiem zapuszczać się w ciemne zaułki przedmieść, wyszedłszy prosto z rautu u jakiejś księżnej. Lecz upływające lata ostudziły w nim zapał do używania życia, toteż nie ruszał się już z domu bez ważnego powodu. Skłaniał się teraz ku rozkoszom raczej platonicznym, ku przyjacielskim spotkaniom, nieśpiesznym pogawędkom; najchętniej spędzał czas wśród ludu, na rozrywki światowe pozostawało mu go niewiele. Pani de Cambremer także się zmieniła, rozwinięła w sobie niewzruszoną obojętność na łaski księżnej de Guermantes. Tymczasem ta ostatnia, zmuszona nawiązać stosunki z margrabiną, odkryła, że pani de Cambremer obdarzona jest inteligencją i kulturą, których ja ze swej strony nie ceniłem zbyt wysoko, księżna jednak miała je za wybitne; zwykle tak bywa, kiedy zaczynamy poznawać zalety osób, z których wadami zdążyliśmy się już oswoić, w ludziach bowiem objawiają się nam na przemian to jedne, to drugie. Często więc u schyłku dnia księżna składała pani de Cambremer długie wizyty. Lecz niezrównany urok księżnej, opromieniający ją cudownym blaskiem w wyobraźni pani de Cambremer, od razu przygasł, gdy ta spostrzegła, że pani de Guermantes szuka jej towarzystwa. Toteż przyjmowała ją w końcu nie tyle dla przyjemności co z obowiązku.

W charakterze Gilberty zaszła zmiana jeszcze bardziej uderzająca, która zdawała się lustrzanym odbiciem i zarazem odwrotnością przeobrażeń, jakim uległ Swann po swoim ślubie. Przez kilka pierwszych miesięcy z pewnością była bardzo szczęśliwa, mogąc przyjmować u siebie najelegantsze towarzystwo. Z uwagi, być może, na spodziewany spadek, dla przyjemności Odety zapraszano także starych przyjaciół, ale tylko w te dni, kiedy nie było nikogo z wytwornych gości, jak gdyby zetknięcie pań Cottard i Bontemps z księżną Parmy lub panią de Guermantes groziło powstaniem wybuchowej mieszanki dwóch niebezpiecznych substancji oraz straszliwą katastrofą. W każdym razie państwo Bontemps albo Cottardowie, choć trochę zawiedzeni, że znaleźli się we własnym gronie, mogli potem, podobnie jak wielu innych, z dumą opowiadać: „Byliśmy wczoraj na obiedzie u margrabin de Saint-Loup” — tym bardziej że niekiedy, zdobywając się na daleko posuniętą śmiałość, zapraszano wraz z nimi panią de Marsantes, która ze swoim

<sup>1463</sup>pan Grévy — prezydent Republiki. [przypis redakcyjny]

wachlarzem z szylkretu i piór prezentowała się jak prawdziwa wielka dama. A wszystko to z uwagi na spadek. Przy czym pani de Marsantes nie zapomniała od czasu do czasu wygłosić pochwały osób taktownych, znających swoje miejsce; wraz z tym zawołanym upomnieniem, skierowanym do rozgarniętego rozmówcy, takiego jak Cottardowie i państwo Bontemps, posyłała im swój najbardziej czarujący i najwynioślejszy ukłon. Przez pamięć „mojej przyjaciółeczki z Balbec” i ze względu na jej ciotkę, najchętniej przychodziłbym razem z tym towarzystwem. Ale dla Gilberty byłam teraz przede wszystkim przyjacielem jej męża oraz Guermantów (a ponadto kimś, kogo widywała w Combray — będąc jeszcze w tym wieku, gdy nie tylko zaczynamy dostrzegać wartość rzeczy i osób, porządkując je według gatunków, lecz także z łatwością wyposażamy je w niebywały splendor, który nie zgaśnie nigdy — i pamiętała, że moi rodzice nie życzyli sobie poznać jej matki). Toteż owe wieczory jej zdaniem były dla mnie zbyt pospolite; a kiedy już wychodziłem, mówiła mi: „To miło, że pan przyszedł, ale lepiej będzie się pan bawił pojutrze, spotka pan moją ciotkę Guermantes i panią de Poix; na dziś zaprosiliśmy tylko przyjaciółki mamy, żeby jej zrobić przyjemność”. Nie trwało to jednak dłużej niż parę miesięcy, potem wszystko zmieniło się nie do poznania. Czyżby przeznaczeniem Gilberty były te same skrajności życia światowego, które wcześniej poznał Swann? W każdym razie Gilberta, która od niedawna była margrabiną de Saint-Loup, a w przyszłości miała zostać, jak się przekonamy, księżną de Guermantes, osiągnąwszy to, co może być najwspanialszego i o co w świecie najtrudniej, uwierzyła, że nazwisko księżnej Guermantes wtopiło się w nią jak ciemnozłoty ornament w porcelanę i że kogokolwiek będzie przyjmowała, w oczach świata nigdy nie straci ono swego blasku. Ale myliła się, nazwiska bowiem i tytuły, tak samo jak akcje giełdowe, zwyczajują, gdy są poszukiwane, a tracą gwałtownie na wartości w chwilach wyprzedzaży; także to, co wydaje się nam niezniszczalne, zmierza ku unicestwieniu. Poczta towarzyska, podobnie jak wszystko inne, nie bywa ustanowiona raz na zawsze, lecz tak jak imperialna potęga, musi rodzić się wciąż na nowo; by ją zachować potrzeba nie mającego końca twórczego wysiłku, z chwili na chwilę, bez wytchnienia. Reguła ta wyjaśnia różne zdumiewające zjawiska, na pozór zakłócające rozwój wydarzeń w wielkim świecie i w polityce w ciągu ostatniego półwiecza. Akt stworzenia nie dokonał się na początku świata, ponawia się on nieprzerwanie, każdego dnia. Margrabina de Saint-Loup powtarzała sobie: „Jestem margrabiną de Saint-Loup”, i pamiętała, że wczoraj sprawiła zawód aż trzem księżnym, wymawiając się od przyjęcia zaproszeń na obiad. Lecz jeśli jej nazwisko dodawało splendoru bardzo niearystokratycznemu kółku towarzyskiemu, które u siebie przyjmowała, to w zamian goście ci, bywając u niej, przyczyniali się do dewaluacji nazwiska. Taki obrót spraw nie oszczędza nikogo i niczego, nawet najświetniejsze nazwiska nie chronią przed zdeklasowaniem. Czyż nie był znany Swannowi przypadek pewnej francuskiej księżnej krwi, której salon stoczył się do najniższej kategorii, dlatego właśnie, że przyjmowała u siebie byle kogo? Pewnego razu, przez grzeczność wstąpiwszy na chwilę do Jej Wysokości, księżna de Guermantes ujrzała tłum ludzi, z których żaden nic nie znaczył; znalazłszy się po chwili u pani Leroi, rzekła do Swanna i hrabiego Modeny: „Czuję, że znowu żyję. Wracam od księżnej de X..., nie widziałam tam nawet trzech znajomych twarzy”. Zdając się powtarzać za pewną operetkową postacią: „Nazwisko moje wystarczy, tuszę, za wszelkie wyjaśnienia”, Gilberta zaczęła demonstracyjnie pogardzać tym wszystkim, czego przedtem pragnęła gorąco; głosiła odtąd, że mieszkańcy Faubourg Saint-Germain to nadęci głupcy, z którymi przestawać niepodobna; po czym, przechodząc od słów do czynów, pozrywała z nimi stosunki. Ci którzy poznali ją później, już w początkach znajomości z ową księżną Guermantes słyszeli, jak z humorem wykpiwa wielki świat, w którym mogłaby do woli bywać; widzieli, że nie przyjmuje u siebie z tych kręgów nikogo, a jeśli jakiś gość owych salonów zabłądził pod jej dach, to choćby był najbardziej błyskotliwy, ziewała przy nim bez żenady — rumienili się więc na samą myśl, że mogli kiedyś ulegać czarowi arystokracji; nigdy nie odważyliby się zwierzyć z tej zawstydzającej tajemnicy kobiecie, której przypisywali nieskazitelną prawość charakteru i obawiali się, że nie byłaby zdolna zrozumieć ich słabości. Oto słyszą, z jaką swadą żartuje z jednego i drugiego diuka, a w dodatku, co jeszcze bardziej niezwykle, postępuje w tym samym duchu, w jakim się wypowiada! Rzecz jasna, ani im w głowie było dociekać, jakie to zrzędzenia losu uczyniły Swannównę panną de Forcheville, panną de Forcheville margrabiną de Saint-Loup, tę zaś księżną de Guermantes. Zapewne nie nawiedzała ich

myśl, że zdarzenia, które doprowadziły do tych przemian, wraz ze swoimi przyczynami i skutkami nie przystają do późniejszej postawy Gilberty; dla damy, o której mówiono „księżna pani” i którą nadszkakujące jej diuszesy nazywały „drogą kuzynką”, przestawanie z mieszczaństwem oznaczało już co innego niż kiedyś, dla młodej panny Swann. Równie łatwo pogardzamy tym, czego nie zdołaliśmy osiągnąć, jak tym, co osiągnęliśmy ponad wszelką wątpliwość. Pogarda ta zresztą wydaje się nam nieraz podstawową cechą tego lub innego człowieka — póki go lepiej nie poznamy. Ale gdybyśmy mogli cofnąć czas i zajrzeć w przeszłość, ujrzelibyśmy go w szponach pospolitych słabości, targanego jeszcze gwałtowniej niż inni tymi samymi pragnieniami, których później ostatecznie się wyzbył, albo też stłumił tak doskonale, że dziś nikt by go nie posądził, jakoby mógł ich kiedykolwiek doświadczać, i wydaje się zgoła, że nie znalazłby dla nich ani odrobiny pobbłażania, nie będąc w stanie ich sobie nawet wyobrazić. Wkrótce zresztą salon świeżo upieczonej margrabiny de Saint-Loup osiągnął swój ostateczny kształt (przynajmniej pod względem towarzyskim — będziemy bowiem świadkami innego rodzaju burz, jakie nawiedzą go w swoim czasie). Kształt ten był jednak z pewnego punktu widzenia zaskakujący. Pamiętano jeszcze wystawne, najświetniejsze w Paryżu przyjęcia, wspaniałością swą dorównujące rautom księżnej Marii, wydawane przez panią de Marsantes, matkę Roberta. Z drugiej strony salon Odety, choć notowany bez porównania niżej, stał się oazą nie mniej oszalałającego zbytku i ekstrawagancji. Tymczasem Saint-Loup, który dzięki bajecznemu posagowi swojej żony mógł nasycić się wszystkim, o czym tylko dusza zamarzy, nie potrzebował po dobrym obiedzie niczego więcej, jak tylko chwili spokoju z muzyką w przyzwoitym wykonaniu. I oto młody człowiek, który kiedyś wydawał mi się tak arogancki i wyniosły, życzył sobie teraz dzielić te przyjemności z kolegami, których jego matka za nic nie wpuściłaby za próg swego salonu. Gilberta, ze swej strony, wcielała w życie maksymę Swanna: „Na jakość nie zważam, ale wystrzegam się ilości”. I Saint-Loup, który przed żoną padałby co dzień na kolana — dlatego, że ją kochał, jak również dlatego, że jej to właśnie zawdzięczał swoje niezmierne bogactwo — ani myślał czegokolwiek jej narzucać, tym bardziej że upodobania mieli podobne. Tak przeto wielkie przyjęcia pań de Marsantes i de Forcheville, wydawane przez lata z nadzieją na znalezienie olśniewających partii dla ich dzieci, nie zaowocowały zwyczajem urządzania przyjęć w domu państwa de Saint-Loup. Trzymali najlepsze konie, by jeździć konno w pojedynkę; do nich należał najpiękniejszy jacht, na który zabierali najwyżej dwoje przyjaciół. W Paryżu miewali na kolacji dwie lub trzy osoby, nigdy więcej. Tak oto za sprawą nieoczekiwanej, a jednak całkiem naturalnej regresji, dwie tętniące gwarem matczyne ptaszarnie dały początek jednemu cichemu gniazdku.

Najmniej pożytku miała ze swego małżeństwa panna d’Oloron. Już w dniu ślubu trawiła ją gorączka. Z pierwszymi objawami tyfusu, ślaniając się na nogach, zdołała jeszcze dobrnąć do ołtarza, umarła zaś parę tygodni później. W nekrologach nazwisko Jupiena znalazło się w jednym rzędzie z najświetniejszymi nazwiskami Europy, na przykład wicehrabiego Montmorency z małżonką, hrabiny S. A. R. de Bourbon-Soissons, księcia Modeny i Este, wicehrabiny d’Edumea, lady Essex, i tak dalej, i tak dalej. Lecz nawet tych, którzy wiedzieli, że zmarła była siostrzenicą krawca, nie powinna dziwić wspaniałość tych koligacji. Albowiem świetne koligacje są tu właśnie istotą rzeczy. Gdy wchodzi w grę *casus foederis*, może się zdarzyć, że śmierć małej parweniuszki okryje żałobą wszystkie domy książęce Europy. Tymczasem spośród młodych ludzi z pokolenia nie znającego już rzeczywistych stosunków w wielkim świecie, wielu sądziło, że Maria Antonina d’Oloron, margrabina de Cambremer, musi być damą najwyższego rodu; czytając owe nekrologi, wyciągali z nich jeszcze wiele innych, równie fałszywych wniosków. Skoro czerpali swą skąpą wiedzę o stosunkach w Combray od specjalnych wysłanników, piszących doniesienia z różnych stron Francji, nie dziwili się wcale, widząc, że w relacjach z pogrzebu na pierwszych miejscach wymienia się panią L. de Méséglise obok hrabiego de Méséglise, tuż za księciem de Guermantes. Strona Méséglise łączy się ze stroną Guermantes; „Wszystko to stara szlachta z tej samej prowincji, skoligacona od pokoleń — można było pomyśleć. — Kto wie, może hrabiowie de Méséglise to jakaś boczna linia Guermantów?” Tymczasem hrabia de Méséglise nie miał nic wspólnego z Guermantami ani nawet ze stroną Guermantes, już prędzej z włościami Cambremerów, ponieważ hrabią de Méséglise, który pojawił się w wyniku pośpiesznej metamorfozy, jakiej w ciągu za-

ledwie dwóch lat uległ pan Legrandin de Méséglise, był po prostu nasz stary znajomy Legrandin. Falszywy tytuł jest bądź co bądź tylko fałszywym tytułem, ale mało który obrażałby uczucia Guermantów tak bardzo, jak właśnie ten. Byli bowiem kiedyś spowinowaceni z prawdziwymi hrabiami de Méséglise; ród ten wymarł, jeśli nie liczyć pewnej żyjącej jeszcze kobiety, wyzutej z majątku i stosunków, wydanej za mąż za wzbogaconego gospodarza, który najpierw dzierżawił, potem zaś kupił od mojej ciotki folwark Mirougrain, a że nosił nazwisko Ménager i był z Mirougrain, przedstawiał się jako Ménager de Mirougrain; kiedy zaś wspomniano, że miał żonę z domu de Méséglise, niezorientowani nawet nie wątpili, że ona jest de Méséglise akurat z tego samego tytułu, co on de Mirougrain.

Toteż każdy inny fałszywy tytuł byłoby Guermantom łatwiej przelknąć. Ale arystokracja zdolna jest nie do takich kompromisów, gdy wchodzi w grę małżeństwo oceniane jako pożyteczne z jakichkolwiek względów. Skoro więc książę de Guermantes nie pokwapił się zdemaskować Legrandina, ten już teraz stał się najprawdziwszym hrabią de Méséglise w oczach pospólstwa, w nadchodzącym zaś pokoleniu wszyscy bez wyjątku mieli widzieć w nim prawowitego dziedzica tego tytułu.

Młody i niezbyt dobrze zorientowany czytelnik prasy łatwo mógł powziąć inne jeszcze fałszywe mniemanie, że baron i baronowa de Forcheville uczestniczyli w uroczystościach jako krewni ze strony Guermantów, tak samo jak rodzice i dziadkowie margrabiego de Saint-Loup. Otóż nie należało ich wymieniać po stronie Guermantów, to Robert bowiem był Guermantem, nie Gilberta. Baron i baronowa de Forcheville w istocie nie reprezentowali strony Cambremerów, tylko rodzinę oblubienicy, lecz bynajmniej nie jako krewni Guermantów: Jupien, o czym pamięta uważny czytelnik, był ciotecznym bratem Odety.

Po ślubie przybranej córki pan de Charlus przelał całą swą łaskawość na osobę młodego margrabiego de Cambremer; w oddaniu mu za żonę panny d'Oloron nie przeszkodziły jego skłonności podobne do gustów barona, było więc rzeczą naturalną, że kiedy młodzieniec owdowiał, sympatia barona przybrała jeszcze na sile. Nie brakowało margrabiemu innych przymiotów, które mogłyby go uczynić uroczym kompanem w oczach pana de Charlus. Lecz nawet wówczas, gdy mamy do czynienia z człowiekiem niezwyklej zalet, jeszcze jedną dodatkową zaletą nie do pogardzenia, szczególnie pożyteczną, gdy zapraszamy go do siebie na wieczór, może się okazać umiejętność gry w wista. Młody margrabia odznaczał się wybitną inteligencją i w Féterne dotąd powtarzano, że już jako dziecko był „w każdym calu wnuczkem swojej babci”, jak ona muzykalny i pełen równie twórczego entuzjazmu. Niektóre jej cechy przeszły na niego, tak jak na innych członków rodziny, raczej przez naśladownictwo niż za sprawą dziedziczości. Przykładem list, który otrzymałem w jakiś czas po śmierci jego żony, podpisany „Leonor” — było to jego imię, którego wcale nie pamiętałem; domyśliłem się tego dopiero, gdy czytałem ostatnie zdanie: „Proszę przyjąć wyrazy mej życzliwości najprawdziwszej”. Słowo „najprawdziwszej” otworzyło właściwą przegródkę pamięci i uwierzyło imię Leonor nazwiskiem Cambremer.

Gdy pociąg wjeżdżał na dworzec w Paryżu, wciąż jeszcze rozprawialiśmy z matką o owych dwóch niezwyklej wiadomościach, które by skrócić mi czas podróży, zechciała zachować na drugą jej połowę i o których zaczęła ze mną mówić dopiero za Mediolanem. Szybko odnalazła jedyny możliwy dla siebie punkt widzenia, jaki wyznaczało jej przywiązanie do mojej babki. Najpierw pomyślała sobie, że babkę zdumiałyby te wiadomości, potem, że byłyby ją zasmuciły; znaczyło to tyle, iż zdaniem matki babce sprawiłyby przyjemność nowiny tak zaskakujące, ale nie mogąc pogodzić się z owym stanem rzeczy, który pozbawił babkę całej przyjemności, wołała dopatrywać się szczęścia w nieszczęściu, toteż doszła do wniosku, że wiadomość była z rodzaju tych dla babki najbardziej przykrych. Ledwie jednak weszliśmy do domu, uczucie żalu, że nie może dzielić z babką tych wszystkich niespodzianek, jakie przynosi nam życie, matka uznała za przejaw egoizmu. Zaczęła więc utrzymywać, że dla babki nie byłyby to żadne niespodzianki, tylko fakty potwierdzające słusność jej przewidywań. Chciała w nich widzieć spełnienie proroczych wizji mojej babki, dowód, że jej umysł był jeszcze głębszy, jeszcze bardziej przenikliwy i bezstronny, niż nam się wydawało. Zmierzając ku pełni najczystszej podziwu, matka pośpieszyła dorzucić:

— A jednak, kto wie, czy to by się twojej biednej babce nie spodobało? Była taka życzliwa ludziom. A poza tym, wiesz przecież, dla niej pozycja społeczna niewiele znaczyła, babka wyżej ceniła wrodzoną dystynkcję. I przypomnijże sobie, to nadzwyczaj ciekawe: obydwie od razu jej się spodobały. Pamiętasz, jak po raz pierwszy wróciła z wizyty u pani de Villeparisis i opowiadała nam, że pan de Guermantes wydał się jej pospolity, a za to pod niebiosa wychwalała Jupienów? Kochana mama, pamiętasz, co powiedziała o tym ojcu rodziny? „Gdybym miała w domu pannę na wydaniu, nie bałabym się oddać mu jej za żonę, a jego dziewczynka, tak mi się zdaje, jest jeszcze bardziej wyjątkowa”. A o małej Swannównie: „Moim zdaniem to urocza dziewczyna, i wspomnicie moje słowa, zrobi świetną partię”. Szkoda, że biedna mama nie może się teraz przekonać, jak trafnie zgadła! Do końca naszych dni, choć już jej z nami nie ma, będzie nam dawała lekcje rozumu, dobroci, właściwej miary rzeczy.

A skoro te przyjemności, których ku naszej rozpaczycy babka nie mogła z nami dzielić, były prostymi radościami codziennego życia — takimi jak zabawna intonacja w głosie jakiegoś aktora, ulubione danie, nowa powieść chętnie przez nią czytanego pisarza — matka powtarzała: „Jakże by ją to zadziwiło, jakże by się z owego śmiała! Jakim pięknym listem odpowiedziałaby na tamto!” Matka ciągnęła dalej:

— Pomyśl tylko, biedny Swann tak bardzo pragnął, by Guermantowie zaprosili do siebie jego córkę, czyż nie byłby szczęśliwy, że weszła do ich rodziny?

— Nawet jeśli poprowadzono ją do ołtarza pod cudzym nazwiskiem, jako pannę de Forcheville?

— Otóż co mi właśnie przeszkadza cieszyć się szczęściem tej małej lisiczki, to myśl, że dla korzyści wyzbyła się bez skrupułów ojcowskiego nazwiska.

— Masz rację, i zważywszy wszystko, pewnie lepiej dla niego, że nie doczekał tej chwili.

Tak oto nigdy nie wiemy ani o umarłych, ani nawet o żywych, co mogłoby ich ucieszyć, a co zabołec.

— Podobno państwo de Saint-Loup zamierzają się osiedlić w Tansonville. Czyż ojciec Swanna, który tak pragnął, by twój dziadek przyszedł obejrzyć jego staw, mógł kiedykolwiek przypuszczać, zwłaszcza gdyby dożył niechlubnego ożenku swojego syna, że nad tym stawem będzie się kiedyś przechadzał książę de Guermantes? Saint-Loup, któremu tyle opowiadałeś o różowych krzakach tarniny, irysach i liliach Tansonville, teraz w końcu zrozumie, o czym mówiłeś. Będą bowiem należały do niego.

Jedna z takich oto pogawędek toczyła się w pokoju stołowym, w jasnym świetle lampy, które tak bardzo im sprzyja; wyraża się w nich rozum i suma doświadczeń — nie narodu, lecz jednej rodziny. Traktują o ślubach, pogrzebach, spadkach i bankructwach, umieszczając je pod powiększającym szkłem pamięci, które uwypukliłoby zarzysy, ukazuje złożoność, odsłoni początki, pozwoli ujrzeć w różnych perspektywach przestrzeni i czasu to, co dla osób nie będących świadkami wydarzeń zlewałoby się w jednorodne tło pozbawione głębi, powstałe z pomieszania imion zmarłych, kolejnych adresów, źródeł i losów fortun przechodzących z rąk do rąk. Natchnieniem tej mądrości jest muza, której — póki możemy się bez niej obejść — lepiej nie wzywać, jeśli chcemy zachować świeżość spojrzenia i choć trochę twórczej wyobraźni. Ale i ci, którzy nigdy się do niej nie odwoływali, mogą u schyłku życia, znalazłszy się w nawie jakiegoś prowincjonalnego kościoła, nagle zauważyć, że nieprzemijające piękno zaklęte w rzeźbach ołtarza obchodzi ich mniej niż zmienne koleje losu tych dzieł, należących kiedyś do słynnej kolekcji prywatnej, potem przechowywanych w kaplicy, potem przekazanych do jakiegoś muzeum i wreszcie przywróconych świątyni; że owo piękno porusza ich mniej niż posadzka, po której kroczą, mając, zda się, pod stopami okrucyśli myśli i prochy Arnaulta albo Pascala; mniej nawet niż przybite do klęczników miedziane tabliczki, na których wygrawerowano imiona córek miejscowego dygnitarza albo szlachciury, przywołujące na myśl postacie hożych pannic z prowincji. Muza ta bowiem nie gardzi tym, co odrząciły jej szlachetniejsze siostry, opiekunki filozofii albo sztuk pięknych, i czym nie rządzi reguła, lecz przypadek, choć i tu daje się zauważyć ślady działania jakichś niezmiennych praw, przejawy pewnego porządku. To muza Historii.

Dawne znajome mojej matki, pochodzące z Combray albo z okolic, składały jej wizyty, by porozmawiać o małżeństwie Gilberty, które nie znalazło w ich oczach uznania.

— Proszę pani, ta panna de Forcheville to jest przecież Swannówna. A świadek ślubu, niechże mu będzie „baron” de Charlus, bo tak się sam każe tytułować, to jest ten stary, co kiedyś utrzymywał jej matkę, nie bez wiedzy Swanna i za jego zgodą; bo Swann także coś z tego miał.

— Ale co też pani mówi! — próbowała zaprzeczyć moja matka. — Przede wszystkim Swann pieniędzy miał jak lodu.

— Widać nie aż tyle, skoro trzeba mu było cudzych. Ale cóż ta kobieta ma takiego w sobie, co po dziś dzień trzyma przy niej dawnych kochanków? Wydała się za pierwszego, potem za trzeciego z nich, drugiego wyciąga teraz nieomal z grobu, żeby zrobić go świadkiem na ślubie własnej córki, którą miała z tym pierwszym albo z jeszcze innym, bo niepodobna się ich wszystkich doliczyć — zapewne sama już nie wie, ilu ich w końcu było. Ja mówię o trzecim, a to był może i trzydziesty. Zresztą obie wiemy, że ona jest taka sama de Forcheville jak pani albo ja. To nie jest żona dla szlachcica. Niechże pani sama powie: czy wziąłby sobie taką kto inny niż zwykły awanturnik? Słyszałam zresztą, że to jakiś byle Dupont czy Durand. Żeby nie mer radykał, co nie kłania się proboszczowi, już dawno znalazłbym sprawę od podszewki. Bo rozumie pani, po ogłoszeniu zapowiedzi musieli się w merostwie podpisać prawdziwymi nazwiskami. Bardzo to ładnie wygląda w gazecie i na zaproszeniach, kiedy się ktoś podaje za margrabiego de Saint-Loup. Nikomu taka rzecz nie szkodzi, jeśli więc ludziskom sprawi uciechę, nie bronię im tego. Bo czy mnie czego ubędzie? I tak ani myślę utrzymywać stosunków z córką takiej kobiety, niechże ona sobie będzie dla swojej służby margrabiną do woli. Ale z aktami stanu cywilnego to już inna sprawa. Ach, jaka szkoda, że mój kuzyn Sazerat już nie jest zastępcą mera, napisałabym do niego, on by mi zdradził, pod jakim nazwiskiem dopełnili formalności!

W owym czasie niemało wiedziałem o sprawach Gilberty, z którą znowu byłem blisko; trwanie naszego życia ma bowiem inną skalę niż trwanie naszych przyjaźni. Oto po latach odradzają się (jak w polityce dawne gabinety, jak stare komedie na deskach teatrów) więzy przyjaźni między tymi samymi co dawno temu ludźmi, by być troskliwie pielęgnowane. Po dziesięciu latach wietrzeją przyczyny zerwania, nie jest już ważne to, że ktoś kochał zbyt mocno, a ktoś inny nie mógł znieść zaborczej tyranii uczucia. Pozostaje bliskość; wszystko to, czego kiedyś Gilberta uparcie mi odmawiała, mogłem teraz uzyskać bez żadnego wysiłku, z pewnością dlatego, że niczego już od niej nie chciałem. Choć kiedyś było to zawsze niemożliwe, nie do pomyślenia — teraz znajdowała dla mnie czas w każdej chwili i nigdy pośpiech nie zmuszał jej do skrócenia wizyty, bo choć nie padły między nami żadne wyjaśnienia, zniknęła największa przeszkoda: moja miłość.

Nieco później przyjechałem na kilka dni do Tansonville. Podróż niezbyt mi się w tamtym momencie uśmiechała, bo w Paryżu miałem dziewczynę, która sypiała w wynajętym przeze mnie mieszkanku. Tak jak innym potrzebny bywa do szczęścia zapach lasu albo szum wody, ja musiałem nocą słyszeć jej oddech u mojego boku, a za dnia mieć ją przy sobie w powozie. Miłość bowiem, nawet jeśli popadła w zapomnienie, zazwyczaj wpływa na kształt następnej miłości. Już w czasach tej poprzedniej ulegaliśmy różnym rytuałom, sami nie pamiętając, skąd się wzięły. Jakaś obawa, której doznaliśmy pierwszego dnia znajomości, zapisała się w namiętym pragnieniu — obróconym później w nawyk, jak wiele innych zwyczajów, których sens został zapomniany — zawracania powozem pod dom ukochanej albo zatrzymywania jej u siebie, narzucania jej naszej nieustającej obecności, albo też korzystania z pomocy kogoś, komu ufamy, kto będzie ją miał na oku, gdziekolwiek by poszła: wszystkie te zwyczaje są niby wygodne i niezmiennie szlaki, które codziennie przemierza nasza miłość, a które wytopił dawno temu wulkaniczny żar rozpalonych uczuć. Zwyczaje te mogą nawet przetrwać śmierć kobiety, z którą się wiązały, mogą przetrwać i pamięć o niej. Stają się dla nas wzorcem miłości, jeśli nie każdej bez wyjątku, to przynajmniej wielu kolejnych. Oto dlaczego w moim domu, w miejsce pogrążonej już w niepamięci Albertyny, nieodzowna była obecność nowej kochanki, ukrywana przed składającymi wizyty, wypełniająca mi życie tak jak kiedyś obecność Albertyny. Żeby pojechać do Tansonville, musiałem wyjednać u niej zgodę, by przez kilka dni czuwał nad nią jeden z moich przyjaciół, który nie lubił kobiet.

Dowiedziałem się, że Gilberta czuje się nieszczęśliwa i że jest zdradzana przez męża, ale nie w taki sposób, o jakim plotkowano, o jakim ona sama chyba jeszcze myślała,

a w każdym razie mówiła. Do oszukiwania innych i samej siebie popychała ją miłość własna, a także brak dostatecznej wiedzy na temat zdrady, właściwy wszystkim zdrażanym istotom, tym bardziej dotkliwy, że Robert, który wdał się całkiem w swego wuja de Charlus, wciąż afiszował się z kobietami, narażając ich cześć na szwank, bo wszyscy, nie wyłączając Gilberty, brali je za kochanki... Mówiono nawet, że zachowuje się bezwstydnie, nieraz przez cały wieczór nadskakując którejs z dam, by zabrać ją potem do powozu, tak że pani de Saint-Loup musiała się sama zatroszczyć o środek lokomocji, by wrócić do domu. Kto utrzymywałby, że kobieta, którą Saint-Loup w ten sposób kompromitował, nie była wcale jego kochanką, zostałby uznany za człowieka naiwnego, w swej ślepotie przeczącego oczywistości. Niestety na ślad prawdy, niezmiernie zasmucającej, naprowadziło mnie parę słów, które wymknęły się kiedyś Jupienowi. Jakże się zdziwiłem, kiedy na kilka miesięcy przed moim pobytom w Tansonville poszedłem spytać o zdrowie barona w związku z jego niepokojącymi dolegliwościami sercowymi — zastałem jednak tylko Jupiena i wdałem się z nim w rozmowę o przechwyconych przez panią de Saint-Loup listach adresowanych do Roberta, podpisanych „Bobette”; dowiedziałem się od starego totumfackiego pana de Charlus, że osobą podpisującą się „Bobette” był nie kto inny tylko ten skrzypek i pismak w jednej osobie, o którym była już mowa i który w życiu barona zdołał odegrać tak znaczącą rolę. Jupien nie posiadał się z oburzenia, kiedy mi o nim mówił:

— Ten chłopak mógł sobie robić, co mu się żywnie podobało, nie miał żadnych zobowiązań. Ale w tę jedną stronę nie wolno mu było nawet spojrzeć: w stronę siostrzeńca pana barona, tym bardziej że pan de Charlus kocha margrabiego jak własnego syna. A ten próbował rozbić małżeństwo. To rzecz haniebna. Musiał chyba posłużyć się jakąś diabelską sztuczką, bo nikt nie był z natury bardziej niechętny takim stosunkom niż margrabia de Saint-Loup. On, który tak szalał za kobietami! Porzucił barona, nędzny grajek, i to w sposób, trzeba powiedzieć, łajdacki — jego sprawa. Ale że nie zostawił w spokoju siostrzeńca! Są rzeczy, których się nie robi.

Oburzenie Jupiena było niekłamane. Ludzie, których określa się jako niemoralnych, okazują zgorzenie równie szczerze, jak wszyscy pozostali, choć z nieco innych powodów. Zazwyczaj też ci, w których miłość nie płonie, oceniając niebezpieczne romanse i niewłaściwe małżeństwa, zapominają o tym, że nie jesteśmy panami własnego serca; nie biorą pod uwagę rozkosznej ułudy, która oprózenia swym blaskiem przedmiot miłości w sposób tak zupełny i wyłączny, że „głupstwo”, popełnione przez zakochanego, żeniącego się z kuchcią albo z kochanką przyjaciela, w końcu może okazać się jedynym romantycznym porywem w jego życiu.

Pojąłem, że małżeństwo Roberta omal nie skończyło się separacją (choć Gilberta jeszcze nie całkiem rozumiała, co się święci) i że to pani de Marsantes, matka kochająca, ambitna i wyrozumiała, nakłoniła oboje do zgody, w ostatniej chwili ratując sytuację. Pochodziła bowiem ze sfery, w której na skutek ciągłego mieszania się tej samej krwi i topnienia fortun niezdrowe wykwity dziedzicznych skaz i obciążeń objawiały się coraz to zarówno w namiętnościach, jak i w interesach. Z tą samą energią, z jaką przedtem popierała panią Swann, przykładając rękę do wydania za mąż córki Jupiena i dążyła do małżeństwa swego syna z Gilbertą, pani de Marsantes zaczęła działać i teraz, wspierając się w swej pełnej bólu rezygnacji tą instynktowną mądrością, którą zawsze chętnie służyła całemu Faubourg Saint-Germain. Jeśli w pewnym momencie zdecydowała się doprowadzić do skutku małżeństwo Roberta, co z pewnością mniej kosztowało ją bólu i łez niż przedtem nakłonienie go do rozstania z Rachelą, uczyniła to przede wszystkim z obawy, by nie wplątał się na nowo z inną kokotą, albo i z tą samą, bo Robert o Racheli długo nie mógł zapomnieć, w kolejny skandaliczny związek, co dla niego byłoby zresztą ratunkiem. Teraz dopiero zrozumiałem, co miał na myśli, kiedy mówił mi u księżnej de Guermantes: „Szkoła, że ta twoja przyjaciółeczka z Balbec nie ma posagu, jakiego życzy sobie moja matka, myślę, że rozumielibyśmy się nawzajem bez trudu”. Chciał przez to powiedzieć, że była Gomorejka, tak jak on Sodomita; a jeśli jeszcze nie całkiem się nim stał, to w każdym razie lubił już tylko te kobiety, z którymi mógł oddawać się miłości w jakiś szczególny sposób, w obecności innych kobiet. U Gilberty także mógłbym zasięgnąć wiadomości o Albertynie. Gdyby nie to, że zainteresowanie życiem mojej przyjaciółki opuściło mnie do reszty, jeśli nie liczyć coraz rzadszych nawrotów choroby — mógłbym teraz rozpy-

tywać o sprawy z nią związane nie tylko Gilbertę, lecz także jej męża. Jednym słowem, Robert i ja byliśmy gotowi żenić się z Albertyną przez wzgląd na to samo (na jej gust do kobiet). Ale przyczyny tych naszych pragnień, podobnie jak cele, które nam przyświecały, były zgoła przeciwne. Mnie popychała do tego rozpacz, w jaką wpadłem, dowiadując się o jej skłonnościach, Robert spodziewał się zadowolić własne żądze. Ja zamierzałem roztoczyć nad nią nieustającą kontrolę, by uniemożliwić jej zaspokojenie owych gustów, Robert chciał je w niej rozwijać, licząc na to, że gdy pozostawi jej całkowitą swobodę, ona mu zacznie sprowadzać swoje przyjaciółki.

Jeśli zdaniem Jupiena ten nowy kierunek, jaki uległszy całkowitej przemianie, przyjęła zmysłowość Roberta, był sprawą bardzo niedawnej przeszłości, to ze słów Aimégo, które zasmuciły mnie niepomiernie, zrozumiałem, że *maître d'hôtel* z Balbec umiejscawia ów krytyczny moment znacznie wcześniej.

Okazja do rozmowy nadarzyła się podczas mojego kilkudniowego pobytu w Balbec, gdzie Saint-Loup, korzystając z długiego urlopu, przyjechał w tym samym czasie, razem z żoną, której w tym początkowym okresie ich małżeństwa nie odstępował na krok. Podziwiałem trwałość wpływu, jaki wywarł na niego związek z Rachelą. Jeśli młody mąż potrafi przy wejściu do restauracji zdjąć płaszcz z ramion żony, jeśli umie być wobec niej odpowiednio troskliwy, to właśnie dlatego, że przed ślubem przez długi czas miał kochankę. Pozostając w tamtym związku, Robert otrzymał wychowanie, jakie powinien mieć dobry mąż. Nieopodal ich stolika, a tuż przy moim, zasiadał Bloch w kompanii zmanierowanych młodych akademików. Silił się na swobodę światowca, zachowując się tak głośno, jakby z rozmysłem chciał zwrócić na siebie uwagę; kabotyńskim gestem podał nad stołem kartę któremuś z kolegów i przewrócił przy tym dwie karafki: „Nie, nie, mój drogi, pan zamawia! — wykrzykiwał. — Nigdy w życiu nie umiałem wybierać z karty! I proszę nie kazać mi komenderować garsonami!” Powtórzył to kilkakrotnie, z jakąś fałszywą dumą, po czym, przeszedłszy gładko od literackiej pozy do łapczywości, kazał natychmiast przynieść butelkę szampana, która „powinna się pojawić w postaci czysto symbolicznej”, jako gustowny dodatek do wymiany zdań. Co innego Saint-Loup: komenderowanie garsonami miał we krwi. Siedział obok Gilberty, która była wtedy w ciąży, tak jak sypiał obok niej we wspólnym łóżku hotelowym (odtąd miał z nią płodzić dzieci raz za razem). Rozmawiał tylko z nią jedną, wydawało się, że w całym hotelu nikogo poza nią nie widzi, ale w chwili gdy któryś z garsonów stawał tuż nad nim, by przyjmując zamówienie, Robert szybko wznosił ku niemu jasne oczy i rzucał spojrzenie trwające nie dłużej niż dwie sekundy, którego przenikliwość odsłaniała nagle z całą oczywistością ukryty porządek jego pragnień i zainteresowań, obcy zwyczajnym klientom; ci mogą bez końca przypatrywać się jakiemuś strzelcowi czy subiektowi po to jedynie, by zabawić swoje towarzystwo ciętą i zabawną uwagą na jego temat. Owo krótkie, bezinteresowne spojrzenie świadczyło zaś o tym, że Robert jest ciekawy garsona dla niego samego; gdyby ktoś je pochwyił, mógłby powziąć podejrzenie, że ten wzorowy mąż, ten namiętny niegdyś kochanek Racheli, prowadzi drugie, utajone życie, pociągające go o wiele bardziej niż to, w którym uczestniczył z obowiązku. Lecz można to było po nim poznać tylko w tym mgnieniu. Po chwili jego spojrzenie wracało do Gilberty, która niczego nie zauważyła, Robert przedstawiał jej kogoś w przelocie, zabierał ją na spacer. W tejsze chwili Aimé opowiadał mi o czasach znacznie dawniejszych, kiedy dopiero co poznałem Roberta przez panią de Villeparisis właśnie tutaj, w Balbec.

— Ależ tak, proszę pana, to arcy pewne, wiem o tym nie od dziś. W tamtym roku, kiedy pan po raz pierwszy przyjechał do Balbec, pan margrabia zamknął się w pokoju z moim liftbojem pod pretekstem wywoływania zdjęć starszej pani, pańskiej babki. Mały uparł się wnieść oskarżenie, poruszaliśmy niebo i ziemię, żeby rzecz całą zatuszować. Albo niech pan sobie przypomni ten dzień, kiedy przyszedł pan do restauracji na obiad z panem margrabią de Saint-Loup i z jego kochanką, służyła mu za alibi. Pewnie pan pamięta, że margrabia wyszedł, tłumacząc się rozdrażnieniem. Nie powiem, że słuszność była po stronie tej pani. Ona mu urządziła szopki nie z tej ziemi. Ale nikt mi nie wmówi, że z tym napadem rozdrażnienia to była prawda, bo myślę, że raczej chciał się pozbyć towarzystwa pańskiego i tej pani.

Miałem pewność, przynajmniej gdy chodzi o tamten dzień, że jeśli nawet Aimé nie kłamał świadomie, to w każdym razie grubo się mylił. Aż nadto dobrze pamiętałem, w ja-



kim stanie był Robert, kiedy spoliczkował dziennikarza. I zresztą z windziarzem mogło być tak samo: albo wtedy skłamał, albo też teraz zmyślał Aimé. Tak sądziłem, a upewnić się i tak nie mogłem. Nie potrafimy dostrzec więcej niż jedną stronę zdarzenia, a gdyby to wszystko nie było dla mnie tak bolesne, znalazłbym jakąś radość i w tym, że kiedy ja dla swojej wygody posyłałem windziarza do Roberta, by zaniósł mu list i wrócił z odpowiedzią, dla niego była to okazja do spotkania z kimś, kto mu się spodobał. Na każdą rzecz można spojrzeć przynajmniej z dwóch stron. Nasze uczynki, choćby najmniej znaczące, wywołują w następstwie jakieś działania ze strony innych ludzi. Jest rzeczą pewną, że jeśli przygoda Roberta z windziarzem w ogóle miała miejsce, to dla mnie w najmniejszym stopniu nie była ona wpisana w banalną czynność wysyłania listu; tak samo dla kogoś, kto z Wagnera zna tylko duet w *Lobengrinie*, preludium z *Tristana* byłoby niemożliwe do wyobrażenia. Bez wątpienia tylko mała część niezliczonych cech właściwych przedmiotom otaczającego świata objawia się ludziom, a to z powodu ubóstwa naszych zmysłów. Rzeczy mają barwę, bo my mamy oczy; o ileż więcej trzeba by było określić, gdybyśmy rozporządzali setką zmysłów! Ale odmienność kształtu, który świat przybrałby wówczas, łatwiej nam przeczuć, gdy już znamy niepełność każdego, choćby najmniej znaczącego doświadczenia, które wydawało się nam obiektywne, podczas gdy ktoś, kto patrzył niejako z przeciwnego okna, zobaczył zgoła inną scenę. Gdyby założyć, że Aimé się nie pomylił, to rumieniec na policzkach Roberta, w chwili gdy Bloch wspomniał o liftboju, miał być może co innego za przyczynę niż pomyłka Blocha, który myślał, że mówi się „lajft”. Byłem jednak przekonany, że owa fizjologiczna przemiana nastąpiła znacznie później i że wtedy jeszcze Saint-Loup gustował wyłącznie w kobietach. Bardziej niż cokolwiek innego świadczyła o tym przyjaźń, jaką okazywał mi w Balbec. Był bowiem zdolny do prawdziwej przyjaźni, jedynie póki kochał kobiety. Później, przynajmniej przez długi czas, traktował mężczyzn, którzy go nie pociągali, z zimną obojętnością — jak sądzę, po części szczerą, stał się bowiem nad wyraz oschły, nieraz do przesady, jakby chciał w ten sposób umocnić mniemanie, że prócz kobiet nie lubi nikogo. A jednak pamiętam, jak pewnego dnia w Doncières, gdy jechałem na obiad do Verdurinów, obrzucił Charliego przeciągłym spojrzeniem i pozwolił sobie na taką uwagę: „To ciekawe, ten chłopiec ma coś z Racheli. Nie uderzyło cię to? Zdumiewające podobieństwo. A zresztą, nic mnie to nie obchodzi”. I mimo wszystko jego spojrzenie błędziło potem przez dłuższy czas w przestrzeni, jak u kogoś, kto zamiast wrócić do partii kart albo iść na obiad do miasta, zamyslił się nad daleką podróżą, w którą nigdy nie wyruszy, o czym dobrze wie, choć zateęsknił za nią przez chwilę. Robert znajdował w Charliem coś z Racheli, a Gilberta bardzo pragnęła w czymkolwiek ją przypominać, by podobać się mężowi, nosiła więc tak jak ona jedwabne wstążki we włosach, pąsowe, różowe albo żółte, i naśladowała jej fryzurę; wydawało jej się, że Robert wciąż kocha Rachelę, była więc o nią zazdrosna. Że uczucia Roberta przekraczały chwilami granicę między miłością naturalną a perwersyjną miłością do mężczyzny, to więcej niż prawdopodobne. W każdym razie wówczas wspomnienie Racheli miało już dla niego wartość jedynie estetyczną. Niewykluczone, że było tak i w przeszłości. Kiedyś poprosił ją, żeby przebrała się po męsku i strąciła kosmyk włosów na czoło, lecz w końcu tylko zmierzył ją wzrokiem, nieukontentowany. W każdym razie czuł się związany z nią nadal, i skrupulatnie, choć bez przyjemności, wypłacał jej horrendalnie wysoką rentę, którą był obiecał — co wcale jej nie przeszkodziło nękać go jeszcze i potem w najobrzydliwszy sposób. Gilberta zniosłaby łatwiej jego hojność dla Racheli, gdyby wiedziała, że w tym spełnianiu zobowiązań była już tylko rezygnacja, bez śladu uczucia. Ale on starał się — przeciwnie — stworzyć fałszywe wrażenie, że kocha Rachelę jak dawniej. Homoseksualiści byliby najlepszymi mężami na świecie, gdyby tylko nie musieli udawać, że lubią kobiety. Zresztą Gilberta nie skarżyła się. Właśnie z przeświadczenia, że jest od tak dawna i wciąż jeszcze kochany przez Rachelę, zrodziła się w niej gorąca chęć poślubienia go, która kazała jej odrzucić inne, lepsze partie. Zawsze wierzyła, że biorąc ją za żonę, w jakimś sensie wyświadczył jej łaskę. I w samej rzeczy, porównania, jakie czynił między dwiema kobietami (o nieporównywalnym typie urody i całkiem odmiennym stylu) były zrazu niekorzystne dla uroczej Gilberty. Lecz z czasem zaczął cenić ją coraz bardziej, podczas gdy jego szacunek dla Racheli topniał gwałtownie.

Jeszcze jedna osoba zmieniła się nie do poznania: pani Swann. Jeśli w oczach jej córki jaśniał nad Robertem nimb podwójny — jego miłości do Racheli, stale rozgłaszanej przez

żałamującą ręce panią de Marsantes, i uroku, jaki w Guermantach znajdował najpierw Swann, a potem sama Gilberta — to pani de Forcheville wolałaby poczekać na partię jeszcze świetniejszą, być może z tytułem książęcym (nie brakowało zubożałych książąt krwi ani starych rodów gotowych przyjąć pieniądze, zresztą, jak się okazało, znacznie mniejsze od obiecanych osiemdziesięciu milionów, lecz za to oczyszczone dzięki nazwisku Forcheville) oraz zięcia, który nie deprecjonowałby własnego nazwiska przez uporczywe uchylanie się od kontaktów z wielkim światem. Nie zdołała jednak narzucić córce swojej woli, i oto użalała się przed każdym, wyrzekając na zięcia. Ale wszystko zmieniło się pewnego pięknego dnia: zięć odtąd był według niej aniołem, kądziwość przemyślała co najwyżej ukradkiem. Otóż mając już swoje lata, pani Swann (która tymczasem stała się panią de Forcheville) nie przestała znajdować zadowolenia w tym, że ją utrzymywano; tymczasem szeregi wielbicieli stopniały i coraz mniej można było liczyć na ich hojność. Każdego dnia zachciewało jej się to nowej koliai, to nowej sukni wyszywanej brylancikami, to nowego, jeszcze kosztowniejszego auta, ale nie było ją na to wszystko stać, bo Forcheville przepuścił prawie cały majątek, a jej córka — czyżby jakiś hebrajski przodek ponosił za to winę? — choć przeurocza, wyrosła na okropną sknerę, żalowała każdego franka mężowi, cóż dopiero matce. I oto pani Swann zwietrzyła w Robercie swego protektora, a potem go w nim znalazła w samej rzeczy. Jej młodość dawno minęła, ale dla zięcia, który nie lubił kobiet, było to bez znaczenia. Od swej teściowej żądał jedynie łagodzenia różnych napięć powstających między nim a Gilbertą, oczekiwał, że wyjedna mu zgodę Gilberty, gdy chciał na przykład wyruszyć w podróż z Morelem. Wziąwszy jego stronę, Odeta mogła liczyć na wspaniały rubin w natychmiastowym rewanzu. Chodziło tylko o to, by Gilberta okazała swojemu mężowi trochę wielkoduszności. Odeta zachęcała ją do tego tym gorliwiej, że sama się spodziewała na owej wielkoduszności coś zyskać. Dobiegając pięćdziesiątki (a może sześćdziesiątki, jak głosiły plotki), dzięki Robertowi mogła nadal olśniewać niesłychanym przepychem swych toalet towarzystwo zebrane przy każdym stole i w każdym salonie, gdzie tylko się pojawiła, i to nie potrzebując nowego „przyjaciela”, który może nie sięgałby już tak chętnie do portfela, bo trudno by jej było na stare lata nakłonić go do uległości, do jakiej przywykła. Tak przeto ostatni okres jej życia był czasem bezgrzesznym, przy czym nigdy wcześniej nie nosiła się równie wykwintnie.

Nie tylko zła wola i nienawiść człowieka z nizin do pana, który wyciągnął go z biedy i który (co zakorzenione było głęboko w charakterze, a zwłaszcza w sposobie mówienia pana de Charlus) zawsze dawał mu odczuć dzielącą ich różnicę stanów, pchnęła Charliego w ramiona Roberta ku tym boleśniejszej rozpaczycy barona. Być może odegrał w tym pewną rolę interes. Miałem wrażenie, że Saint-Loup dawał Morelowi mnóstwo pieniędzy. Spotkałem Roberta pewnego wieczoru przed moim wyjazdem do Combray; siedł z elegancką kobietą, którą w towarzystwie uważano za jego kochankę, wtulony w nią i omotany jej suknią tak, że zdawali się stanowić jedno ciało, wystawione na widok publiczny. Wydawało mi się, że znam ten gest, będący rodzinnym dziedzictwem, choć w tym nowym wydaniu było w nim więcej nerwowości; widziałem go już u pana de Charlus, okrytego toaletą pani de Molé niby sztandarem donżuanerii, choć nie był to jego sztandar; ale baron, nie troszcząc się o to, czy ma do niego prawo, lubił pod nim występować, może sądząc, że to go przed, czymś chroni, albo po prostu gwoli estetycznej satysfakcji. Co do Roberta, zdziwiło mnie, że chłopak, który był tak hojny, kiedy miał mniej pieniędzy, teraz stał się do przesady oszczędny. Ludzie zdają się przywiązywać wagę tylko do tego, co posiadają, toteż ktoś, kto szastał złotem, choć nie miał go w nadmiarze, później skrzętnie składa je do szkatułki; zjawisko to jest dość rozpowszechnione, lecz tutaj, jak sądziłem, przybrało formę skrajną. Saint-Loup nie chciał wziąć fiakra; zauważyłem, że zatrzymał powrotny bilet na tramwaj. Bez wątplenia, czyniąc tak, wykorzystywał, co prawda dla nowych celów, talenty nabyte w czasach swego związku z Rachelą. Młody człowiek, który przez długi czas żył z kobietą, rzadko bywa tak niezaradny jak początkujący mąż, który nie znał kobiet prócz swojej żony. W te nieliczne dni, kiedy zabierał żonę na obiad do restauracji, wystarczyło popatrzeć, jak zręcznie i z jaką atencją zdejmował z niej wierzchnie okrycie, z jaką znajomością rzeczy składał zamówienia i dawał się obsługiwać, jak starannie wygładzał rękawy Gilberty, nim pomógł jej włożyć żakiet — i można było zaraz poznać, że zanim się z nią ożenił, przez długi czas musiał być kochankiem innej. Podobnie też, zmuszony zajmować się w najprzysiężniejszych drobiazgach gospodarstwem

Racheli, po części dlatego, że ona sama nie miała do tego głowy, po części zaś z powodu własnej zazdrości, która kazała mu trzymać rękę na pulsie wszelkich domowych spraw, umiał teraz zarządzać dobrami swojej żony i dbać o wspólny majątek, nie wychodząc z roli sprawnego i bystrego intendenta, w której Gilberta być może nie umiała się znaleźć i której z ulgą się zrzekła. Bez wątpienia jednak robił to wszystko z myślą o Charliem, dla którego przeznaczał sumę wszystkich groszowych oszczędności domowego budżetu i w ten sposób zapewniał mu całkiem dostatnie życie, nie martwiąc Gilberty, która niczego nie zauważyła. Czynił tak, być może mając Morela za człowieka rozrzutnego „jak każdy artysta” (bez nacisku i bez śladu dumy Charlie nazywał artystą sam siebie, kiedy tłumaczył się z tego, że nie odpowiada na listy, i z całej masy innych przywar, które w jego przekonaniu niezaprzeczalnie składały się na artystyczną osobowość). Dla mnie było to z punktu widzenia moralności nieistotne, czy ktoś znajduje rozkosz u kobiet, czy u mężczyzn, przy czym rzeczą aż nadto ludzką i zrozumiałą wydawało mi się szukać jej tam, gdzie ją można znaleźć. Gdyby więc Robert się nie ożenił, jego związek z Charliem nie powinien mnie w żaden sposób zranić. A jednak czulem, że choćby nawet w swoim czasie zrezygnował z małżeństwa, ból, którego teraz doświadczałem, byłby równie żywy. Gdyby chodziło o kogo innego, niewiele by mnie to wszystko obeszło. Ale lży kręciły mi się w oczach na myśl, że Saint-Loup kiedyś był inny i że żywiłem dla niego serdeczne przywiązanie, którego, jak mogłem poznać z jego nowego sposobu bycia, chłodnego i powściągliwego, już nie odwzajemniał, odkąd bowiem jego pragnienia zwróciły się ku mężczyznom, nie przychodziło mu do głowy szukać u nich przyjaźni. Jak to możliwe, by taka zmiana zaszła w chłopaku, który do szaleństwa kochał kobiety, w tym samym, którego ujrzałem kiedyś całkiem załamanego i aż zląkłem się, żeby nie palnął sobie w łeb z rozpacz, bo „Rachela kiedy Pan” chciała z nim zerwać? Czyżby owo podobieństwo między Charliem i Rachelą, którego ja nie dostrzegałem, było pomostem, po którym Robert przeszedł od normalności ojca do specjalnych gustów wuja, i tak dokonana się w nim fizjologiczna ewolucja, która u pana de Charlus także nastąpiła dość późno? Od czasu do czasu powracały do mnie słowa Aimégo, zasiewając niepokój. Kiedy Robert rozmawiał z windziarzem, przybierał ten wyraz lekceważącego roztargnienia, który widywałem u pana de Charlus, kiedy zwracał się do niektórych mężczyzn. Ale mogło to równie dobrze wynikać z wrodzonej wszystkim Guermantom wyniosłości, z właściwej im od wieków fizycznej postawy, nie zaś ze specyficznych skłonności barona. Dlatego to księżę de Guermantes, który w najmniejszym stopniu nie podzielał gustów swego brata, miał zwyczaj tym samym nerwowym ruchem nadgarstka strzepywać nieistniejący koronkowy mankiet, a w jego głosie rozbrzmiewały podobne tony, ostre i afektowane, którym u pana de Charlus chciałoby się przypisać jakąś szczególną wymowę, a właściwie on sam im ją nadawał, człowiek bowiem wyraża osobliwości swojej natury poprzez atawistyczne, bezosobowe cechy, które zapewne są po prostu utrwalonym od pokoleń w głosie i ruchu wyrazem natury któregoś z przodków. Jeśli przyjmiemy tę ostatnią hipotezę, wkraczającą w dziedzinę historii naturalnej, nie przyjdzie nam już do głowy widzieć w panu de Charlus Guermanta dotkniętego zбочeniem, które objawia się w nim częściowo poprzez bezosobowe, atawistyczne cechy rodu, lecz raczej to księcia Błażeja będziemy musieli uznać za jedyną w tej zdegenerowanej rodzinie postać całkowicie wolną od dziedzicznego defektu, którego zewnętrzne przejawy właśnie u niego zatraciły swój podtekst. Miałem w pamięci dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Roberta de Saint-Loup w Balbec, jasnowłosego, utkanego z materii drogocennej i rzadkiej, podążającego za rozhuśtanym na łańcuszku monoklem; dostrzegłem w nim wtedy jakiś znak kobiecej miękkości, który, rzecz jasna, nie miał żadnego związku z tym, czego się teraz o nim dowiadywałem; tak bowiem przejawiał się urok Guermantów, urok tej delikatnej saskiej porcelany, z której wymodelowana była również księżna. Miałem w pamięci przywiązanie, jakie okazywał mi w sposób tak uczuciowy i delikatny, że mogłoby to pewnie wprowadzić w błąd niejednego, ja jednak dobrze wiedziałem, że wtedy nie miało to znaczenia, o jakim usłyszałem teraz, wprost przeciwnie. Lecz kiedy zaszła w nim ta zmiana? Jeśli wtedy, gdy po raz drugi bawiłem w Balbec, to dlaczego ani razu nie spojrział na windziarza, nawet o nim nie wspomniał? A jeśli za pierwszym razem, gdy był do szaleństwa zakochany w Racheli, to jak mógł go w ogóle zauważyć? Podczas mojego pierwszego pobytu w Balbec wydał mi się kimś wyjątkowym, jak wszyscy Guermantowie. I oto okazał się człowiekiem jeszcze bardziej

zdumiewającym, niż mogłem kiedykolwiek przypuszczać. Ale z tej wiedzy, do której nie dochodzimy bezpośrednio dzięki intuicji, lecz przejmujemy ją gotową od innych, dusza nasza nie ma żadnego pożytku, nie możemy jej tego przekazać: przypaść, pozostanie już pozbawiona dostępu do prawdy; i nie możemy nawet cieszyć się swoim odkryciem, na to także jest za późno. Zresztą i tak nie mógłbym się nim cieszyć, było dla mnie nazbyt bolesne. Pamiętając, co mi mówił pan de Charlus u Verdurinów w Paryżu, rozumiałem, że przypadek Roberta nie był wyjątkiem, podobny los stawał się udziałem wielu ludzi godnych szacunku, a wśród nich nawet tych najrozumniejszych i najszlachetniejszych. Rzecz byłaby mi całkiem obojętna, gdyby chodziło o kogokolwiek innego — oprócz Roberta. Wątpliwości, jakie nurtowały mnie z powodu słów Aimégo, rzuciły cień na naszą przyjaźń z czasów Balbec i Doncières, i chociaż nie wierzyłem już w przyjaźń ani w to, że naprawdę łączyła mnie z Robertem, za każdym razem, kiedy powracałem w pamięci do historii o windziarzu albo do obiadu w restauracji z Robertem i Rachelą, z trudem powstrzymywałem łzy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://www.wolnelektury.pl/katalog/lektura/w-poszukiwaniu-straconego-czasu>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, W stronę Swanna, Warszawa 1937. Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, W cieniu zakwitających dziewcząt, tom I-III, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1937. Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Strona Guermantes, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1938; M. Proust, Strona Guermantes, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2000. Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Sodoma i Gomora, część pierwsza, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974; Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Sodoma i Gomora, część druga, T. I-II, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939. Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Uwieczniona, tom pierwszy, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939. Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu*, Utracona, tłum. Magdalena Tulli, Porozumienie Wydawców, Warszawa 2001.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Dorota Kowalska, Katarzyna Tomczak-Tomaszewska, Magdalena Szudziak, Marta Niedziałkowska, Milena Dyńska, Paulina Choromańska, Tadeusz Boy-Żeleński, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6759-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).